Spis rzeczy

zawartych w roczniku 1895.

Strona

Polityka.

Ekonomia polityczna.

Sprawy społeczne.

Strona

Beletrystyka.

Strona

Literatura i sztuka.

Nr. 1. Poznań, Niedziela 6go Stycznia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
dministracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

Czas odnowić przedpłatę!

„Przegląd Poznański" kosztuje kwartalnie na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi

3.75 mr.

w mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej, wraz z odnoszeniem do domu

3 mr.

we wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową

4,00 mr.

„Przegląd Pozn." zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 86 a.

TREŚĆ.

ROK ŻAŁOBY.

Rok 1895 zamyka stuletni okres porozbiorowego istnienia. Zegar zwiastujący północ Sylwestrową zabrzmiał jak elegia i dźwięk jego rozpłynął się w żałosnem westchnieniu. Za nami wiek cały Syzyfowych wysileń,. wiek cały męki, — tej, którą historya zapisała na kartach swoich, i tej straszniejszej, która żyje w tradycyach rodzinnych, lub zginęła i ginie bez śladu w więzieniach, kazamatach i lochach północy. A przed nami mrok. Tak przestępujemy próg noworoczny: Wczoraj i dziś smutne jak dola sieroca, a jutro — znak zapytania.

Zdawaćby się mogło, że ogrom polskiej niedoli jest żywą pamięcią i świadomością w społeczeństwie naszem, bo każda godzina życia narodowego mieści w sobie ponure „Memento" wydziedziczenia. To nie bitwa przegrana, ani Jena, ani Waterloo, to rana codziennie jątrzona, to ból chroniczny, to jednem słowem niewola. A przecież, gdy ucho przykładamy do piersi narodu, zdaje nam się niekiedy, że dźwięk tej żywej pamięci gdzieś się rozpływa i tak przycicha, jak płacz zrezygnowanego i pogodzonego z losem swoim ślepca. Powiedziano o nas, że jesteśmy pesymistami i zatraciwszy w daltoniźmie naszym poczucie barw jasnych, spoglądamy na społeczeństwo jak na czarną plamę. Być może, że zarzut ten pojawi się powtórnie w prasie poznańskiej, lecz przeczucie to nie powstrzyma ani na chwilę wyznania, że zdaniem naszem poczucie krzywdy, poczucie nieprzedawnionych praw naszych tępieje w narodzie. Jest zresztą w społeczeństwie polskiem stronnictwo potężne, które półotwarcie, a nawet bez wszelkich osłonek proklamuje ideę *bezwzględnego* „pogodzenia i pojednania" i wszystkie siły wytęża, aby w narodzie zabić pamięć, wypłoszyć sny ewentualnego odrodzenia i wprawiwszy kraj cały w stan bezczułości, zamienić Polaków „w Niemców, Austryaków, lub Rosyan polskiego języka". Niechaj nikt nie sądzi, że w proteście naszym przeciw owej koteryi superlojalizmu mieści się apoteoza politycznej histeryi, spragnionej ofiar bezustannych i rozkochanej w Chrystusowem obliczu ojczyzny. Być może. że chorobliwa pożądliwość ruchów i polskiej Golgoty tuła się jeszcze gdzieniegdzie wśród niedobitków dawnych walk i szałów, być może, że gdzieś znajdują się jeszcze jednostki oderwane od rzeczywistości i wykarmione psalmami Krasickiego, które w bezustannym haraczu z krwi i życia ludzkiego upatrują świt niepodległości, — my nad tą garstką duchów przeszłości przechodzimy do porządku dziennego, ale z równą energią rzucamy rękawicę tym wszystkim, którzy program pracy organicznej i przystosowania do warunków chwili obecnej pragną zamienić w radykalne wyszarpanie idei protestu i pamięci naszej, w *tabula rasa* narodu z jedyną pozostałością ojczystego języka.

Spoglądając na ewolucyę prądów politycznych w społeczeństwie polskiem, słyszymy bezustannie charakterystyczny okrzyk rzymskiego poety: „*Dum stulti vitant vitia in contraria currunt.*" Zdaje się istotnie, że my Polacy skazani jesteśmy na bezustanną epidemią ostateczności, że uciekając na łeb i szyję z nurtów Scylli zdradliwej, ginąć musimy w Charybdzie. Zawiodła polityka uczuć, na marne poszła krew i mienie polskie w bojach o niepodległość, konwulsyjne budzenie ducha wydało zgubne owoce, więc bez namysłu. proklamując ideę trzeźwienia. z ekstremu w ekstrem płyniemy. I oto rozpoczyna się okres nowy. okres materyalizacyi społeczeństwa, kurczenia serc, hyperlojalnych umizgów. Okrzyk „Nie budźmy ducha" rozlega się coraz natarczywiej, słowo „demonstracya" staje się straszakiem, a stempel dojrzałości politycznej otrzymuje ten, który z senatorską powagą operuje monetą nowoczesnej mennicy politycznej z stereotypowym napisem: „Szukajmy chleba, nie drażnijmy, milczmy!" Hasła takie. głoszone z miarą rozumną, mogłyby oczywiście dla społeczeństwa wydać zdrowe owoce, ale dla narodu, na którym ciąży klątwa „ekstremu" łatwo z nich wyrodzić się może jednostronny utylitaryzm i narodowa apatya. Wydaje nam się, że apostołowie obecnej ewangelii politycznej w pogoni za wątpliwemi koncesyami ze strony rządów zaborczych tracą zupełnie z oka psychologiczne warunki bytu narodowego, bo nie zniszczeje wprawdzie naród, który za ustępstwa w dziedzinie szkolnictwa płaci lojalnem *placet* w zakresie walk parlamentarnych o budżet i wojsko, ale zachwiać się może w kardynalnych podstawach ten, któremu krzyczą bezustannie nad uchem prorocy jego, że każda żywsza manifestacya patryotyzmu jest objawem politycznego niemowlęctwa, każda iskra narodowej *pamięci* sentymentalnym frazesem, a konsekwentne objawy sympatyi zwyciężonego ludu dla zwycięzców wyrazem obywatelskiej dojrzałości. Czegóż dzisiaj polska „trzeźwość" nie stroi mianem demonstracyi?. Msza dziękczynna w rocznicę bitwy Racławickiej, straż obywatelska w sokolich mundurach, wstrzymanie się od balów publicznych w roku żałoby — wszystko to zyskuje miano polityki demonstracyjnej i ginie pod wyrokiem „ojców narodu" jako niebezpieczna junakerya lub chorobliwy histeryzm. Prąd ten przenikać nawet zaczyna szerokie koła młodzieży naszej. która z cynicznym uśmiechem na ustach deklamuje o trzeźwieniu narodu i zimna, oschła. przeraźliwie ostrożna ma zawsze w pogotowiu potępienie dla tych, którzy gorętszych objawów ducha narodowego nie skreślili z programów swoich. Toż jeszcze w najświeższym czasie zdarzyło się w Berlinie, że *prezes* akademickiego stowarzyszenia złożył swój urząd z tego jedynie powodu. że młodzież uniwersytecka postanowiła w roku bieżącym zaniechać publicznego balu. A dyplomata ten nowoczesny nie poprzestał na prostej abdykacyi, lecz dla uwiecznienia mądrości swojej do ksiąg stowarzyszenia „*votum separatum*" przeciw żałobie narodowej załączył.

Snać jednak zdrowy patryotyzm młodzieży

nie zastygł jeszcze wśród hydropatycznej kuracyi lojalizmu naszego, jeżeli „*votum separatum*“ dwudziestoletniego Filipa z Konopi minęło bez echa, a nie tracimy nadziei, że podobny los spotka poznańskie „Dzienniki“ i „Kuryery“, protegujące w roku żałoby publiczne zabawy. Naród nie powinien płakać, naród nie powinien rozpamiętywać stuletniej niewoli, naród powinien tańczyć, aby nikt nie pomyślał, że po za „Prusakiem polskiego języka“ żyje jeszcze Polak, — oto idea naszych „poważnych“ organów, — idea, z której wypływa protest przeciw zaniechaniu balów w roku żałoby i milczenie głuche o smutnej rocznicy w noworocznych numerach „Dziennika“ i „Kuryera“.

Za czyim głosem podąży społeczeństwo poznańskie tego przesądzać nie możemy, ale w pierwszym tygodniu żałobnego roku raz jeszcze słowa przestrogi kreślimy w tem przekonaniu, że rozdmuchamy iskry, przysypane popiołem fałszywej „trzeźwości“. Nie pragniemy żadnych Donkiszoteryi demonstracyjnych i odrzucamy z wszelką stanowczością wszelkie krzykliwe manifestacye narodowego bólu, ale pragniemy w dyskretne znamiona żałoby ubrać setną rocznicę niedoli naszej, aby przytępioną świadomość krzywdy przedwiekowej, poczucie odrębności i odporność naszą rozbudzić i ożywić. Być może, że postulat nasz zaliczonym zostanie do wielkiej rubryki narodowej tromtadracyi, ale nas ten wyraz nie przeraża bynajmniej, bo taką jedynie demonstracyę zaliczamy do rzędu szkodliwych czynników politycznych, której istotę stanowi dysproporcya ofiary i zysku. — która rozmiłowana w „rozkoszy cierpienia“ lub wykąpana w szale namiętnym głową na oślep o mur uderza, bez rachuby, bez rozwagi, bez bilansu straty i dorobku.



Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Hlas Naroda*“ organ partyi staroczeskiej taki sąd wydaje o mowie posła młodoczeskiego hr. Harracha, w której twierdzi, aby utworzono jednę partyą patryotyczną czeską:

„Mowa hr. Harracha, którą był wygłosił przed wyborcami swymi w okręgu reformackim, wzbudziła w szerokich kołach patryotycznych zaciekawienie. Nad mową tą zastanawiają się ci wszyscy szczerze, którzy nie dla spekulacyi i widoków osobistych, ale dla ogólnego dobra narodu pracują. Każdy, kto widzi sromotne stosunki w kraju powita z radością myśl programu wspólnego obydwóch stronnictw, przeciw którym z jednej strony klerykalizm, z drugiej międzynarodowy ruch Omladyny występują. Ci wszyscy, którzy widzą, jakie stosunki mieć może dalsze trwanie stanu obecnego, muszą w każdej próbie akcyi wspólnej upatrywać objaw dodatni.

Mowę posła młodoczeskiego witamy nader sympatycznie, — witamy sympatycznie idee pogodzenia wszystkich patryotycznie usposobionych Czechów. Pierwszy raz tutaj uwierzyliśmy, że mówca młodoczeski mówi o sprzymierzeniu nie o podporządkowaniu jednej partyi pod rozkazy drugiej.

* * *

Młodoruskie „*Dilo*“ pisze w sprawie wiecu duchowieństwa unickiego, mającego się wkrótce odbyć we Lwowie:

„Duchowieństwo ruskie chce się zorganizować i postawić program jednolity, którego będzie się trzymać konsekwentnie.

„W sprawie szkólnej domaga się ono ze względu na smutne stosunki religijne i narodowe, aby u nas zaprowadzono szkoły konfesyjne oddzielające unitów od dzieci rzymsko-katolickich i żydowskich.“

„W szkołach ruskich musi być nauczycielem Rusin; pod żadnym warunkiem nie mogą być nauczycielami żydzi lub nauczycielkami żydówki, co już tak często się zdarza.

W szkole z dziećmi unickiemi i katolickiemi powinna decydować o narodowości nauczyciela większość liczebna dzieci..“

* * *

„*Opavsky Tydennik*“ organ Czechów śląskich pisze o zagajeniu sejmu krajowego na Śląsku austryackim, co następuje:

„Zagajenie sejmu naznaczono na godzinę 10. Gdy godzina wybiła sala była pustą, tylko kilka osób w audytoryum w milczeniu głębokiem siedziało. Pierwszym, który się zjawił, był poseł Tourk. antysemita. Swojem wystąpieniem na wiecu chłopów austryackich w Wiedniu narobił on dużo kłopotu liberałom ślązkim, panującym wespół z antysemitami nad Czechami i Polakami śląskimi. Po nim zjawił się hr. Larysz, którego dziś posądzają o jakieś sympatye polskie. Stawili się wszyscy posłowie polscy i czescy, był także na posiedzeniu pierwszem książe kard. Kopp, odziany w purpurę, oraz superintendent luterski dr. Haas, któremu powiodło się wśrod pastorów śląskich pozyskać agitatorów na rzecz niemieckości i poróżnić ich z katolikami.

Z powodu wystąpienia Rochowanskyego z wydziału krajowego uchwalili Czesi, aby obrano w jego miejce dr. Grudę, Niemcy zgodzili się z razu na to, ale skutkiem agitacyi p. Tourka nazwisko posła czeskiego na karteczkach skreślili. Mimo to wybór jego przeprowadzili, gdyż za posłami czeskimi i polskimi głosowali dr. Kopp, kardynał i hr. Larysz.

W końcu posiedzenia wzniósł prezydent okrzyk „Hoch!“ na cześć cesarza, wszyscy wznieśli go po niemiecku, tylko poseł CiencIała, umyślnie się opóźniwszy, zawołał: „niech żyje!“

D. K.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego.

Wychodząca w Toruniu „Gazeta codzienna“ zamieszcza w numerze gwiazdkowym następujące wyznanie, rzucające charakterystyczne światło na zakulisowe manipulacye konserwatywno-ugodowego stronnictwa:

„Najtrudniej redagować pismo bezstronnie i uczciwie, bo wielu polityków naszych przywykło niestety do tego, że gazety te ślepo służą jednemu stronnictwu, to z kolei ofiarują usługi swe temu, kto najlepiej płaci.

„I do nas zwracano się z różnemi propozycyami i usiłowano zobowiązać nas dla pewnych osób i kierunków, dając poznać, że n a m z a u s ł u g i z a p ł a c ą. Zarazem uspakajano nasze sumienie uwagą, że „t o j u ż t a k i z w y c z a j“.

„Oczywiście odrzuciliśmy wszelkie „oferty“ z oburzeniem, bo rozumiemy, że dziennik nie może być tubą tych, którzy najwięcej mają pieniędzy i papką zyskują sobie redaktora, lecz bronić winien sprawy publicznej bez względu na osoby i stronnictwa. Tego żąda i ogół od dziennikarstwa, ale nie podoba się to ludziom, którzyby chcieli za pośrednictwem gazet wodzić społeczeństwo na pasku, kazać mu bić czołem przed sobą i przed blizkiemi sobie zerami moralnemi i umysłowemi, a ludzi niemiłych i niewygodnych, starym zwyczajem odsądzać od czci i wiary. Tacy od samego początku intrygują

---

4)

MARYA RODZIEWICZ.

RYNGRAF.
NOWELA.

(Ciąg dalszy.)

— Szlachetny panie! — rzekł kapitan. — Drugi raz przychodzę do was. Raz byłem jako człowiek bezbronny — znalazłem miłosierdzie i prawość. Dziś przychodzę jako przyjaciel i debitor, prosząc o gościnę na dzień jeden. Mam ze sobą kompanią żołnierzy; którym pod karą gardła nie wolno grabić i krzywdzić. Jeśli macie u siebie waszych, niech się nie trwożą. Przychodzę jako przyjaciel. Nikomu z was włos z głowy nie spadnie.

Przemowa ta nie udobruchała starego. Wróciła mu tylko panowanie nad sobą. dała mu ochłonąć z pierwszego wrażenia.

— A jeśli tobie nie dam gościny? — spytał niechętnie.

— Będzie to znakiem. że powątpiewasz pan w mój honor. lub że coś gorszego niż waszych ukrywasz.... W pierwszym razie poproszę was o satysfakcyę, w drugim będę zmuszony zarządzić rewizyę.

Niewiadomo, która alternatywa była skuteczniejszą. ale hiszpan dalej nie protestował, tylko z głębokim ukłonem zaprosił go do wnętrza domu.

Eskorta wodza uwiązała konie w galeryi, sama rozłożyła się w sieni. Pokój, od dziedzińca pierwszy zajął dla siebie kapitan. Gospodarz się oddalił, w celu. jak mówił, zarządzenia wieczerzy.

Konstanty okiem badawczem rozejrzał się po otoczeniu. Z sieni wychodziło się na dziedziniec, wyłożony kamieniem z fontaną w środku. Za tym dziedzińcem był ogród, dokoła murem obwiedziony.

Służba i domownicy Alcada snuli się wszędzie, rzucając na wrogów niechętne, ukośne spojrzenia. Konstanty czuł się śledzonym, zaprzestał obserwacyi i wrócił do swej kwatery, skinąwszy staremu podoficerowi z eskorty, by szedł za nim.

— Załoszka — rzekł — znam cię, żeś sprawny i nie gadatliwy. Weź podobnego sobie szeregowca i zróbcie mi rekonesans ogrodowego muru, nie zwracając niczyjej uwagi, jakbyście szukali winogron lub paliwa. Nie zaraz, o zmroku! Jeśli znajdziecie bramę lub wyłom jaki, jeden z nich tam zostanie ukryty, drugi niech mi tu wróci z raportem. Porozumiewać się po naszemu! Marsz i baczność.

Załoszka zrobił pół obrotu i wymaszerował, salutując.

W tejże chwili Alcad wszedł, zapraszając swego gościa uprzejmemi słowy do jadalni. Tam też ukazała się panna Mercedes. Oficer skłonił się jej z daleka, przyczem zauważył, że była kredowo bladą i tylko zachowywała jaki taki spokój.

Nie tknęła żadnej potrawy i nie podniosła ani razu swych przepysznych oczu. Na lada hałas lub odgłos z ulicy drżała na całem ciele.

Z pod oka kapitan ją badał i utwierdził się coraz silniej w powziętych domysłach. Wewnątrz wzbierał mu gniew i dzika wściekłość, hamował się jednak doskonale i toczył obojętną rozmowę ze starym, który z niebywałą uprzejmością podawał mu jadło i dolewał bezustannie ciężkiego, mocnego wina,

— Chcą mnie upoić! — pomyślał oficer, udając dobrą wiarę w serdeczność przyjęcia i szczere intencye gospodarzy.

Pod koniec uczty, gdy, zapaliwszy cygaro, żegnał się i zamierzał do wyjścia, Alcad wziął go na stronę.

— Panie oficerze — rzekł — na mocy waszego zapewnienia przyjaźni, śmiem wnosić, że ja i moi jesteśmy wolni wchodzić i wychodzić z domu i oddawać się naszym zatrudnieniom i rozrywkom bez straty i kontroli.

przeciw nam skrycie, bo do wystąpienia jawnego brak im odwagi cywilnej, a może także potrzebnego kapitału moralnego i umysłowego.“

„*Postęp*“ oburzony bezustannemi procesami wytaczanemi mu za obrazę osób prywatnych, — procesami, które prasa konserwatywno-ugodowa proteguje usilnie, tak się odzywa z powodu skargi wdrożonej przeciw niemu przez poznańskie władze duchowne:

„Nas teraz za lada słówko chwytają i wytaczają procesy, więc i my podobnej broni będziemy zmuszeni się uchwycić i zapowiadamy naprzód redaktorom pism dworskich, że nie będziemy mieli żadnego względu i jeśli zajdą w przyszłości jakie obrazy, tak bez wszystkiego wytaczamy skargę, drzewa na sobie nie pozwolimy rąbać, kiedy procesować się, to już dobrze, niech sądy pruskie się bogacą na polskich redaktorach, boć wszelki przykład idzie z góry.“

W sprawie procesu wytoczonego „Gońcowi Wielk.“ i „Postępowi“ o wiadomość dotyczącą malarzy pracujących w dzień Wszystkich Świętych nad renowacyą tumu taką opinję wygłasza „*Wielkopolanin*“:

„Goniec Wielkopolski“ popełnił błąd nie do darowania, starając się podkopać powagę Najwyższej Naszej Władzy Duchownej; „Goniec Wielkopolski“ powinien bowiem wiedzieć, że kto podkopuje powagę Naszego Kościoła, tem samem narusza podstawy naszego bytu narodowego. „Goniec Wielkopolski“ powinien był wiedzieć, iż takie pismo jak „Postęp“ wyzyska przez niego podaną wiadomość, aby w kole swych czytelników szerzyć nienawiść przeciwko Kościołowi“.

„Goniec Wielkopolski“ zamieszcza w Nr. 2 następujące pytanie:

„Czemu po naszych książkach do nabożeństwa: w Litanii Loretańskiej usunięto słowa: „Królowo Korony Polskiej“? Za czyjem to rozkazem się stało? Zwracamy na to uwagę, że we wszystkich książkach do nabożeństwa, wychodzących nakładem Jałkowskiego w Grudziądzu, ten brak zauważyliśmy“.

„*Pielgrzym*“ pelpliński, obarczony zarzutem, że odradza od zakładania nowych towarzystw polskich w Prusach zachodnich, odpiera powyższą insynuacyę oświadczeniem, że przestrzega jedynie przed rozdrabnianiem sił i radzi już istniejące Towarzystwa udoskonalić.



SPRAWY EKONOMICZNE.

Praca kobiet i stowarzyszenia zawodowe

II

Nie myślimy bynajmniej przeprowadzać porównania między zawodową pracą kobiet w Anglii i w Królestwie Polskiem. Jeżeli przeto zestawiamy stosunki nasze z rozwojem kraju najwięcej przemysłowego w Europie, to dla tego, iż stoimy właśnie na pierwszym szczeblu owego ruchu, który zjednoczył już w stowarzyszeniach tysiące pracownic angielskich.

Zarówno zaprowadzenie przemysłu fabrycznego, jak i praca kobiet w tym przemyśle, jako fakt zbiorowy pojawiły się dopiero w naszem stuleciu, a przeważnie w jego drugiej połowie (po zniesieniu granicy celnej między królestwem i cesarstwem powstała największa ilość fabryk), jest więc faktem względnie nowym.

Powtarzają się tu przecież te same zjawiska, co w innych krajach, zjawiska związane z samą produkcyą, jak przyrost liczby pracujących kobiet, względnie szybszy niż mężczyzn, przeważne użycie sił ich w przemysłach włóknistych, nizkie płace zarobne i zastosowanie pracy niewieściej do najnieprzyjemniejszych i najuciążliwszych często zajęć.

Nie mając ogólnych danych statystycznych, co do liczby i rodzaju zajętych robotników, posiłkować się tu musimy cyframi, które zebrał były inspektor fabryczny pan W. Światłowski w r. 1886 do 1888. W 800 zwiedzonych przez niego fabrykach i zakładach na 76,444 robotników było 37 procent kobiet. Porównywając z różnemi okręgami fabrycznemi Rosyi, dochodzimy do wniosku, że u nas w t. zw. urzędownie okręgu warszawskim, gdzie kapitalizm najwięcej jest rozwinięty największym był też procent zatrudnionych kobiet (we Włodzimierskim 36, w Moskiewskim 32, w Charkowskim 23). Zależy to zresztą i od rodzaju przemysłu: w zagłębiu Dąbrowskim, gdzie jest przemysł kopalniowy i huty dla przetapiania metali, praca kobiet ma nadzwyczaj mało zastosowania, w okręgu łódzkim, w Żyrardowie, w Białymstoku, gdzie rozsiadły się przemysły włókniste, ilość kobiet jest taka sama, a często większa, niż mężkich robotników. Więcej niż 50 kobiet na stu robotników znajdowało się w następujących gałęziach wytwórczości:

Przędzalnie bawełny	54	proc. kobiet
„ wełny	59	„ „
„ przędzy wigoniowej	58	„ „
Tkanie jedwabiu	55	„ „
Przędzalnie i tkalnie płótna	51	„ „
Wyrób tasiemek i koronek	55	„ „
Fabryki wstążek	62	„ „
Pończoszarnie	74	„ „
Guzikarstwo	50-56	„ „
Wyrób cykoryi	58	„ „
Wyroby z papier-maché	55	„ „
Wyrób cygar i papierosów	58	„ „

Jak widzimy z cyfr przytoczonych oprócz włóknistych przeważną ilość kobiet zajmują drobne przemysły, a ilość ta powiększy się, jeżeli do fabrycznych dodamy rzemiosła, jak kwiaciarstwo, szycie sukien i bielizny, oraz krawaciarstwo, które praca kobiet wyłącznie prawie obsługuje.

Złem nie jest, iż kobiety mają zajęcie w przemyśle, ale złem to, że dostają im się często najbrudniejsze i najniezdrowsze roboty. I tak np. w przemysłach włóknistych mycie i udeptywanie wełny w glinę, w fabrykach papieru rozbieranie gałganów, przyczem wydziela się pył zabójczy, w hutach (np. cynkowych) wywożenie i uprzątanie gorących żużli i popiołu w takiej temperaturze, jaką nieprzywykłemu człowiekowi wytrzymać trudno przez pięć minut. Te najprzykszejsze roboty należą również do najmniej płatnych, są bowiem bardzo proste i uprzedniego przygotowania nie wymagają wcale. I tak np. w hutach cynkowych robotnica zarobić może od 35—60 kop. dziennie, robotnik mężczyzna zaczyna zaś od 60 kop., a z czasem otrzymuje więcej. To samo dzieje się w przędzalniach i tkalniach, gdzie zarobek robotnicy najwyżej dochodzi do 40 lub 50 kop. w cukrowniach zadawalniać się muszą 25-30 kop. Przytem robotnica fabryczna, jak w ogóle robotnik niewykwalifikowany niema nadziei przejścia do wyższej kategoryi pracy, czas i doświadczenie przynieść jej mogą tylko niewielką podwyżkę przy płacy od sztuki, wkrótce zaś groźbę usunięcia z fabryki wskutek niedołęstwa i wieku. Jak dowodzą cyfry otrzymane np. z Żyrardowa, największej fabryki płóciennej w Królestwie i w ogóle w Polsce, kobiety pracujące w Wielkim przemyśle mają większe usposobienie do chorób od mężczyzn, 1,416 mężczyzn, którzy wzywali pomocy lekarskiej w 1887 r. było 2,685

— Powiedziałem i powtarzam — jestem tylko gościem i ludzie moi otrzymali zakaz krępowania was w czemkolwiek. Eskorta pozostanie na ulicy, a ja tylko sam w kwaterze mnie wyznaczonej z jednym służącym. Czyńcie, jakbyśmy nie istnieli! Choćby Mora nawet był u was, może pozostać spokojnie przy waszej opiece!

Skłonił się raz jeszcze i wyszedł, życząc im spokojnej nocy.

W sieni czekały na niego raporty i kuryer od pułku z rozkazem, aby już; skoro świt, wyruszył dla złączenia się z głównym sztabem.

Wydał rozporządzenia, jeszcze raz powtórzył zakaz gwałtów i nadużyć w miasteczku i zamknął się w pokoju.

Szaro już było. Zamiast spocząć, usiadł przy olejnej lampce, wydobył „Plutarcha“ i, wstrząsany tysiącem gorączkowych myśli, począł czytać półgłosem Brutusowe czyny, wypogadzając się dziwnie pod wrażeniem nadludzkich poświęceń i bohaterstwa. Było zupełnie ciemno, gdy mu ordynans zameldował Załoszkę.

Stary podoficer wszedł zaraz potem i z mazurska zaraportował:

— Znaleźliwa scelinę w murze, krzakami okrytą, Gruda tam się ostał na straży. A ja se wróciłem. Zreśtą nigdzie ni bramy, ni furty. Całusienki mur i okrutnie wysoki.

— Nikt was nie dojrzał?

— Ni żywa dusa. Wino tam takie gęste jak u nas chmielniki.

— To dobrze, Zostaniesz tu i możesz się kłaść spać. Nie będę ciebie więcej potrzebował. Wezmę tylko twój płaszcz, a ty, zanim wrócę, ztąd się nie oddalaj.

— Wedle rozkazu, panie kapitanie.

Konstanty przywołał ordynansa, oznajmił że spać będzie i nikogo widzieć nie chce, potem go odprawił, ułożył ułana na swej pościeli, okrył z głową, sam wziął jego płaszcz i kaszkiet, popróbował pistoletów, szablę wziął pod rękę, płaszczem się po oczy otulił i wyszedł. Warta przy eskorcie puściła kolegę, zamieniwszy hasło, wszystko wróciło do spokoju, tylko chwil kilka odgłos kroków się rozlegał po kamieniach, potem i to umilkło. Konstanty wpadł między winne krzewy i, nie oddalając się od muru, szukał wzmiankowanego wyłomu. Nie dostrzegłby go, żeby nie ciche gwizdnięcie i czarna postać, co się nagle podniosła z rowu za jego zbliżeniem:

— To ty, Gruda?

— A ja! — odparł szeregowiec, ziewając. Nie poznał oficera.

— Co tu słychać?

— A nic! Spać się człowiekowi chce.

— To wracaj! Ja zostanę.

— I owszem. Djablo nudno tu siedzieć i czuwać! Dobranoc Macieju!

Mniemany Maciej nic nie odrzekł, a ułan, rad zmianie, zsunął się ze szkarpy i ruszył z powrotem.

Sam sobie zostawiony, Konstanty począł się wdrapywać na kupę rumowisk, uwieńczonych gąszczem krategusów. Pokaleczony i odrapany dosięgnął szczytu, potem z większą już łatwością zsunął się na dół. Był w ogrodzie. Noc, chociaż bez miesiąca, była dość jasna, a żołnierz z ciemnością był oswojony oddawna. Ruszył śmiało przed siebie, badając zagłębienia i gęstwiny, przeszukując wzrokiem wszelkie możliwe kryjówki. Był już może w połowie ogrodu, gdy mu zagrodziła drogę biała ściana. Przyjrzał się. Była to maurytańska altana. Obszedł ją i znalazłszy drzwi, chciał właśnie wkroczyć do środka i przeszukać, gdy go przykuł do ziemi delikatny szmer gitary i bardzo ciche tony hiszpańskiej pieśni. Chwilę stał i zbierał zmysły, może plan działania obmyślił. Decyzya żołnierza bywa krótką i szybką. Cicho, jak widmo, usunął się od drzwi do okna, wyciętego w zgrabny łuk, okrytego tylko leciutką matą.

Tam stanął, do muru się przytulił i znieruchomiał łowiąc uchem te dźwięki i szmery.

Co mu przez te minuty i kwadranse działo się w duszy, nagle z ostatnich nadziei odartej? Nareszcie śpiew ustał, gitara umilkła. Rozległy się odgłosy inne, jakby dawanych i odbieranych pocałunków i melodya namiętnych zaklęć w śpiewnej mowie Cyda. Konstanty wszy-

kobiet. Za to wypadków nieszczęśliwych mniej bywa między kobietami, gdyż zrównanie niebezpieczeństwa jest tu jednakowe, a praca zwykle mniej niebezpieczna.

Prawodawstwo fabryczne wspólne dla Rosyi i Królestwa otacza robotnicę bardzo małą opieką. Oprócz praw ogólnych, stosujących się do wszystkich robotników zajętych po fabrykach, zaliczyć do nich trzeba przedewszystkiem zakaz pracy dzieci niżej lat dwunastu, sposób i czas wypłacania robotnikom, inspekcyą fabryczną zobówiązaną do nadzorowania wszystkich zakładów przemysłowych, uchodzących za fabryki), istnieje tylko zakaz pracy nocnej dla dzieci do lat 17-tu i kobiet w fabrykach przedmiotów włóknistych, i zakaz ten z czasem ma być rozciągnięty na inne rodzaje przemysłów. Dopiero w ostatnim roku zabroniono kobietom pracy w kopalniach pod ziemią, gdzie też praca ich jest bardzo mało używaną. Prawo tedy nie przeciwdziała złym następstwom pracy fabrycznej i nie chroni kobiet od wyzysku.

Jedynym sposobem dopomożenia istniejącym stosunkom byłyby tedy stowarzyszenia z podobnym jak w Anglii zakresem działania i z celem podniesienia warunków pracy kobiet. Wszelkie stowarzyszenia jednak surowo są w Rosyi, a więc i w Królestwie zakazane, a wszelkie w tym kierunku usiłowania prześladowane przez władzę.

Inaczej już jest dla pracujących w rzemiośle. Tu z czasów dawnych utrzymywały się cechy od czasu ustawy z 1816 r. zwane Zgromadzeniami rzemieślniczemi, które przynajmniej majstrom dają możność łączenia się i solidarnego występowania, czeladzi zaś pozwalają mieć wspólną kasę i zapewniają pomoc w razie choroby, nie mówiąc już o tem, że przestrzegają odpowiedniego przygotowania w danem rzemiośle...

Praca kobiet i w rzemiośle szerokie dziś znajduje zastosowanie. Wraz ze zmienionemi warunkami bytu wzięły się do niej oprócz kobiet z klas niższych i kobiety z inteligencyi. Dopomogły tu dużo szkoły rzemiosł, których jest kilka, a do których od razu rzucono się tłumnie. Już w 1884 r. było 4,859 wychowanek rzemieślniczych, dziś jest ich najmniej dwa razy więcej.

Szkoły te miały zasługę zapoznawania kobiet z takiemi rzemiosłami, do których nie garnęły się one dawniej, a więc z introligatorstwem, drzeworytnictwem, fryzyerstwem, szmuklerstwem. Przytem uczennice omijały uciążliwą i długotrwałą naukę na jaką skazane byłyby u majstrów. Ale szkoła nie dawała takiej dokładnej nauki jak warsztat, nie zapoznawała ze wszystkiemi tajemnicami rzeczywistego rzemiosła. To też robotnice, które na chleb pracować potrzebowały i którym nie chodziło o torowanie dróg nowych, lecz o zarobek, po dawnemu uczyły się nieraz po pracowniach i warsztatach. Tu udział kobiet jest bardzo liczny, choć trudno go określić cyframi. Posiadamy bowiem tylko cyfry dla Warszawy i to z czasów spisu jednodniowego w 1882 r. W handlu i rzemiosłach pracowało wówczas 13,575 kobiet, z tych 4,076 w charakterze przedsiębiorczyń, 865 jako komisantki i buchhalterki, a 8,634 robotnic. W wielu zawodach praca kobiet występuje przypadkowo, pobudzają do niej np. okoliczności rodzinne, najintenzywniej zaś reprezentowaną jest w szyciu sukien, bielizny, w krawiectwie męzkiem, przy sporządzaniu ubrań gotowych, przy tak zwanych strojach, a więc ubieraniu kapeluszy i czepków, w kwiaciarstwie, rękawicznictwie, pończownictwie, w pralniach i cerowniach. Jak widzimy wszystko to są fachy mniej lub więcej związane z domowemi zajęciami kobiety, nowoczesny przemysł jednak potrafił je wyspecyalizować i uczynić kółkami wielkiej maszyny. I tak przy wyrobie kwiatów rzadko która umie wykonywać wszystko, najlepiej płatnemi robotnicami są te, które wybrawszy sobie jakiś rodzaj kwiatów wyspecyalizowały się w nim i doszły do doskonałości. W magazynach mód podczas nauki trwającej od 2—3 lat nie uczą nigdy kroju, a całe lata pracownice niektóre trawią na robieniu dziurek, szyciu spodni, obrzucaniu i t. p.

(Dokończenie nastąpi.)



Najnowsze dzieło Ibsena.*)

Londyn w grudniu.

„Mały Eyolf", sztuka w trzech aktach jest najświeższej daty skandynawskiego pisarza dramatem, który ukazał się na półkach księgarskich w połowie bieżącego miesiąca, w przekładzie znanego zaszczytnie krytyka Williama Archera.

„Czy świeży utwór Ibsena będzie symbolicznym? — pytali się coraz to liczniejsi wielbiciele geniuszu autora „Upiorów", który swym zwyczajem kazał nam czekać dwa lata na następcę „Mistrza Solness'a". Większa część kół literackich natomiast radowała się z zwłoki, zażywając miłego spokoju, o ile nie pokutował duch realizmu lub dekadentyzmu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że liczne grono angielskich literatów spogląda na norwegskiego pisarza z niechęcią i trwogą, z jaką wzbogacony biesiadnik patrzałby na intruza-olbrzyma, który ośmieliwszy się wtargnąć do sali upomina się o udział w uczcie. To instynktowne uczucie trwogi, tłomaczące się niemniej wrodzonem lenistwem do wysilania jaźni, a niosące z sobą uprzedzenia, jest ogromnie ludzkiem. Słysząc nowy ton w akordzie literackiej harmonii, zda im się, że wybiła godzina, zwiastująca odmienny rzeczy porządek, że autorytet ich blednieje w świetle jutrzni, a dzieła ich lub drogich sercu rówienników poczynają zstępować do grobowca historyi. Niepomni na nieubłagane prawo ewolucyi zamykają okiennice przed blaskiem nowego słońca, wzdrygają się jak mistrz Solness oddać swym następcom „królestwo", uspakajając się słowy: „to nie jutrzenka, lecz łuna pożarna", bo promienie światła drażnią ich ciasne, konwencyonalne i małomieszczańskie pojęcia moralności. W rzeczy samej nie brak tu i gdzieindziej krytyków, — a w rzędzie ich ojca teatru Klemensa Scott'a, mchem obrosłego jak Francisque Sarcey — którzy nie pochwyciwszy ani rdzenia myśli, ani wątku akcyi Małego Eyolfa tak samo jak dawniej Mistrza Solnessa, ni na wyniesiony z lektury wielki znak zap... zawołali do publiczności z urąganiem: „ecce opus!"

Pytanie jak szczerzy krytycy tego kalibru zapatrują się na — aby nie szukać daleko — Sen nocy letniej Szekspira lub Cencich Shelley'a? „Zola z drewnianą nogą" bowiem nie stanowi wyjątku w plejadzie potężnych umysłów twórczych, lecz tak jak tamte sięgając myślą coraz wyżej, stawiając coraz to szczytniejsze zadania i szukając skomplikowanej formy, w którą dałoby się wlać jaknajwiększy potok swych duchowych zasobów, wstąpił w obłoczną krainę abstrakcyi poetyckiej, do której niejednokrotnie wybiegał w ciągu swej działalności.

Lecz pamiętajmy, że na Shelley'u spoczywa klątwa małodusznego ultramontanizmu, a Szekspir to autorytet uznany, nie zakała, lecz gwiazda rodzinna, nie rywal, lecz fundament, pod czas gdy Ibsen ma nieszczęście albo raczej

*) Już przed wyjściem utworu zamieściliśmy kilka ogólnikowych uwag o treści jego. Dziś po ukazaniu się książki w języku niemieckim, angielskim i norwegskim podajemy obszerne streszczenie i ocenę. Przyp. Red.

---

stkiego wysłuchał, postać jego nie zadrżała ani razu, żadne uczucie słabości i względów nie odwróciło go od powziętego zamiaru, żaden wybuch szału nie zmącił surowej linii oblicza. Nie namyślał się i nie wahał już — tylko czekał. Nareszcie i te szmery miłosne ucichły. Drzwi przymknęły się lekko, wiotka postać dziewczyny, w płaszczu rozwianych kruczych warkoczy przemknęła około niego, i znikła około w głębi ogrodu — a w drzwiach stanęła smukła postać młodzieńca, który za tą uciekającą rzucił spojrzenie ostatnie, pełne blasków i tęsknoty.

Spojrzał i krzyknął, i jak przed zmorą straszliwą oczy zasłonił. Przed nim stał czarny cień przeszłości — stał sędzia.

Tak — wtedy u biwaku wypuszczonych jeńców był to brat i przyjaciel, opiekun ofiarny — w noc tę na placówce był to kolega i doradzca szlachetny, przychodził ze słowem otuchy — ze wspomnieniem babki do słabego dziecka, zdanego mu przez kochające serce.

Teraz przychodził zwierzchnik — po dezertera.

(Dokończenie nastąpi.)

J. P. JACOBSEN,

DWA ŚWIATY.

Tłum. Marya L.

Solica nie przedstawia widoku rzek wesołych. Na wschodnim jej brzegu widnieje już zdala, ponura, bardzo uboga, a dziwnie cicha wioszczyna.

Podobne do nędznego tłumu szpetnych żebraków, przez wodę w drodze zatrzymanego — który jednakże nic zgoła nie posiada, by koszta przewozu zapłacić — stoją tu obszarpane domostwa, tuż nad brzegiem rzeki. Wykoszlawione swe dachy, niby ramiona, zbliżyły ku sobie i sterczą, wsparte na zbutwiałych belkach, zanurzonych w szarej mętnej wodzie — raczej do kalek, na kulach się wspierających, podobne.

Z pod dachów wyglądają czarne, bez połysku szyby, patrząc z wyrazem niemej zawiści na brzeg przeciwległy, gdzie na tle łąk zielonych, piękne domki, szczęśliwszą sobie obrały siedzibę. Widać je tu i owdzie, pojedyńczo lub grupami wesołemi położone, a szereg ich ginie hen, w mglistej, skąpanej słońcem dali....

Ubogich chatek nie otaczają blaski, zdawaćby się mogło, że i słońce niechętnie tam zagląda: ciemność i złowrogie milczenie objęły je w posiadanie i rządy swe sprawiają bezlitośnie... Ciszę mąci tu jedynie szmer rzeki, która, jakby życiem znękana, leniwie acz bez wytchnienia podąża naprzód, nieustannie naprzód.

* * *

Słońce miało się ku zachodowi; w powietrzu rozbrzmiewać poczynało głośne ćwierkanie świerszczy, lekki wietrzyk przenosił je na drugi brzeg, gdzie w rzadkiem sitowiu nadbrzeżnem zamierało.

Z góry rzeki zbliżał się mały jacht.

W tymże czasie, w jednym z ostatnich domów, na balkonie, wsparłszy się o poręcz — stanęła słaba, wycieńczona postać niewieścia. Przezroczystą prawie dłonią, zasłaniała się od słońca, patrząc na jacht, który ku niej się zbliżał.

Sunąc, bez szmeru po powierzchni fali, zostawiał ślad oświetlony teraz ostatniemi słońca promieniami; wyglądało jakby ślizgał się zlekka po złotem wód zwierciadle.

W zapadającym półmroku dostrzedz można było blade oblicze kobiety, tak wrażnie od-

szczęście być „nowym" realistą, a więc poniekąd złym duchem i, jak sam orzekł o sobie „nie ma w sobie materyału na porządnego człowieka"...

Jeżeli wyrozumiemy niechęć do pism Ibsena, zawsze jeszcze pozostanie niezrozumiałem, że żelazna siła intelektu jego, obleczonego w piękną chociaż nie błyskotliwą formę, a uwydatniającego się w prawie beznagannych ramach scenicznych nie podziałała na ich umysły czarująco i nie natchnęła zdumieniem graniczącem z uszanowaniem, jakie odczuwamy w obec potężnego sfinksa.

Atoli cześć dla geniuszu autora Rosmersholm'u nie namaszcza darem rozwięzywania łamigłówek, których kilka dał nam dramaturg pod misterną tkaniną symbolicznej szaty. Nie ułatwia bodaj zrozumienia to, że Ibsenizm sprowadzony do jednej formuły wykazuje, że kwintesencyą jego jest to, że nie ma ścisłej formuły. Analiza „Małego Eyolfa" z emigmatyczną dyalektyką jest tem zdradliwszą, że kreślę te słowa pod pierwszem wrażeniem, aby nie zwłóczyć z streszczeniem, ciekawego dramatu, który jest „zdarzeniem" w literaturze.

Metoda analityczna pozostaje w tej sztuce tą samą i dominujące tony te same, co w dramatach: Rosmersholm Hedda Gabler, Pani z Morza lub Mistrz Solness. Z pierwszym z wyliczonych Mały Eyolf jest spokrewniony duchowo najściślej, pod względem formy zaś z dwoma ostatniemi. Spotykamy tu dawnych znajomych — ludzką odpowiedzialność, wolną wolę — last but not least — miłość platoniczną, wyniesioną do dogmatu jako jednego z kardynalnych warunków szczęścia, albo raczej wewnętrznej harmonii. Wreszcie tak jak w Norze kładzie autor nacisk na wspólny cel małżonków i sympatyę dusz.

Charaktery są niemniej narysowane na wzór dawniejszych kreacyi.

Z sześciu osób trzy grają wybitniejsze role: Alfred Allmers, żona jego Rita i domniemana siostra Asta.

Allmers, to dodatni typ mężczyzny naszej ery, człowiek umysłu spekulatywnego w czynach chwiejny, w uczuciach subtelny i wydelikatniony, w obejściu łagodny. Przypomina Romera, męża Pani z Morza, i poniekąd nieszczęsnego Tesmana.

Rita, to kobieta w całem tego słowa znaczeniu, normalniejsza, praktyczniejsza od męża, przywiązana namiętnie do niego, podlegająca wskutek tego wpływowi wyższej jednostki instynktownie i kierująca się w życiu pobudkami uczuciowemi. Ona to wnosi w końcu płomień szczęścia do domowego ogniska, bo w jej kobiecej duszy rodzi się wielkie dzieło miłości, będące spójnią małżeństwa. Chociaż wiele rynów pokrewnych da się odnaleść w kobietach Ibsenowskich, wogóle Rita jest nową kreacyą, która stwierdza ponownie, że płeć słaba znajduje w Ibsenie powolnego sędziego. Asta natomiast jest znanym typem przeciętnej kobiety jego o zakroju duchowym. Różni się od Rity temperamentem. O ile tamta jest żywą, energiczną, nie rozumiejącą życia bez uciech zmysłowych, o tyle Asta bezkrwista, eteryczna ma do nich wstręt. Chociaż nie pozbawiona siły odpornej, jest siostrą duchową buchalterki Solnessa.

Eyolf, syn Allmersów, kaleka chodzący z kulą u nogi, to dziewięcioletni chłopczyk z usposobienia podobny do ojca, wybujały umysłowo i nad wiek rozwinięty, który pragnieniami sięga po za granice możności. Gra rolę drugorzędną i ginie w końcu pierwszego aktu, lecz myśl o nim albo właściwiej o Eyolfie wogóle zaprząta osoby do końca sztuki. Ściśle biorąc nie on lecz imie jego jest punktem ciężkości. Nosi je zaś nietylko syn Allmersów lecz także Asta, którą Allmers tak nazywa od czasu gdy jako mała dziewczynka przebrała się raz w jego ubiór. Autor mówi nie tylko o małym Eyolfie, lecz — wielkim Eyolfie i Eyolfach wogóle t. j. dzieciach całej parafii.

Prócz tych postaci występuje pełen wiary w siebie inżynier Borgheim i postać symboliczna jak u „Pani z Morza". Tam był nią nieznajomy, marynarz, przedstawiciel świat opasującego elementu, który jest ucieleśnioną wolną wolą, a na scenie nabiera wyglądu tajemniczego i demonicznego. W tym dramacie spotykamy — śmierć o osobie znahorki, tchnienie grobowe wnoszącej z sobą. Towarzyszy jej czarny piesek, który pomaga jej przy „wabieniu" szczurów z sklepów, czyli dusz z ciała. Co oznacza ten piesek? Jestże to duch wątpliwości w istnienie życia pozagrobowego, który Ibsen wprowadza w fantastyczny sposób jak Wielkiego Boyg'a w „Peer Gynt" i Falcocia w Brandzie?

W „Małym Eyolfie" zatem usłyszymy wyraźne echa dawnych dzieł Ibsena. Treść sama zaś, której jądrem jest śmierć dziecka, z pewnością niemniej przedstawia się tragicznie i ponuro. Atoli nie dość, że charaktery są spokojniejsze i więcej przeciętne, ale ponad całą sztuką zamiast pomroku pognębienia i ciemnicy beznadziejności, widnieje blady promień światła, a w symfonii tonów brzmi nuta zgody z życiem i dramat kończy jakiemś ożywczem tchnieniem nadziei, jeśli nie w szczęście to przynajmniej w osiągnięcie spokoju, płynącego z zgody z sobą, wspólnego celu i poczucia użyteczności dla bliźnich. Dramat nie zawiera rozwoju problematu wolnej woli na wielką skalę jak w Brandzie, ani na mniejszą jak w Hedzie Gabler. Nawet okropny wypadek — śmierć Eyolfa nie występuje z taką grozą, z jaką jowiszowy dramaturg byłby go wstanie zaakcentować. Wszystkie ulubione tezy Ibsena są tu o cały ton niższe, a kładąc przycisk na upokorzenie się przed losem, zdaje się on szeptać słowo pocieszenia.

Mister William Archer miał podobno powiedzieć, że dramat ten jest melancholią posuniętą do ostatecznych granic, melancholią trudną do zniesienia, a opinia jego niewątpliwie nie jest pozbawioną wagi. Winienem wszakże wyznać szczerze, że dopatrzyłem się czegoś wręcz nieomal przeciwnego. Nikłemi ludzkiemi stworzeniami wicher szamoce dowolnie jak spadłemi liśćmi, ale przecież dostają się one do zakątka „wielkiej ciszy."

Rdzeń dramatu sformułowałbym w tych słowach: krzyż nałożony na nas przez los, nieśmy w pokorze, a gdy przy domowem ognisku ból nas czeka i rozterki, zamiast szukać pociechy czy zapomnienia w zadowolnieniu zmysłów, wznieśmy się — aczkolwiek tylko „istoty ziemskie" — na „szczyty" zaprzania siebie, „ku gwiazdom" poświęcenia. Przy wielkiem ognisku społeczności znajdziemy dla siebie nieodzowny w małżeństwie wspólny piękny cel życia a wtenczas „może od czasu do czasu, w wędrówce przez życie, uda nam się rzucić okiem w stronę" — Eyolfa — szczęścia....

Czy pod nazwą Eyolfa nie należy rozumieć duchowego szczęścia domowego?...

Akcya rozgrywa się w majętności Almersów, położonej nad Fjordem o kilkanaście mil od Krystyanii.

Allmers wróciwszy, z wycieczki w góry zaledwie pobieżnie zauważył piękny strój oczekującej go niecierpliwie żony i nie znalazł czasu na karesy. Poślubił jądlatego, że była czarująco piękna i posiadała „złoto i zielone lasy". (Określenie to powtarza się kilkakrotnie, będąc jednym z kluczy do uchylenia wieka z tajemniczych podwalin sztuki). Kocha ją, lecz umysł jego zajętym jest wyłącznie pracą nad dziełem o — ludzkiej odpowiedzialności. Węzłem duchowym małżonków jest dziecko. Teraz po powrocie z gór zwraca on całą uwagę na syna, którego wprawdzie dawniej kształcił, ale któremu nie był ojcem. Osobiste ambicye odrzuciwszy zatapia się cały w istnieniu dziecka. Rita pałając gorącą miłością ku niemu i pragnąc posiadać go zupełnie i wyłącznie, znajduje rywala w swym synu zaledwie pozbyła się dawnego: *studyów*. Nawet uczucia Alfreda ku siostrze zdają jej się zbyt

---

bijające od ciemnego tła, jak gdyby w sobie własne źródło światła posiadało. Z wyrazem beznadziejności i strachu w oczach, ze smutnym uśmiechem na ustach zmęczonych — rozglądała się dokoła, a zmarszczki głębokie na nieco wypukłem jej czole, rzucały na twarz jej, cień niezłomnego, rozpaczliwego postanowienia.

Z kościoła rozległ się głos dzwonu.

Kobieta odwróciła głowę i, jakby w odpowiedzi na niemilknące dźwięki dzwonu, wyszeptała zcicha; „nie mogę dłużej czekać, nie mogę.....

Dzwonienie nie ustawało.

Zupełnie wyczerpana długiem oczekiwaniem, poczęła chodzić tam i napowrót, wzdychając ciężko, jak człowiek, który z trudnością tłumi łkanie wyrywające się z piersi.

Długie, długie lata była cierpiącą; jako ofiara choroby nie opuszczającej jej ani na chwilę — dawno już nie zaznała pokoju. Jeździła do rozmaitych miejsc świętych, cudami słynących, radziła się lekarzy — dotąd jednak bezskutecznie. Tego zaś roku, w sierpniu odbyła wraz z pątnikami pielgrzymkę do św. Bartłomieja — gdzie jej pewien jednooki starzec coś nowego poradził. Z szarotek alpejskich, gałązek ruty zwiędłej, rdzawych dźbeł kukurydzy i kwiatów cmentarnych — kazał uwić wiązankę, dodać do niej splot jej włosów i drzazgę z trumny oderwaną. Wiązanką tą niechaj rzuci za młodą, zdrową kobietą, zbliżającą się ku niej — po wodzie bieżącej; wówczas męcząca choroba ją opuści, a tamtę nawiedzi kobietę.

W chwili, kiedy widzimy ją, znękaną, przed domem, trzyma ona, w zanadrzu ukrytą, wiązankę tajemniczą, a na rzece zbliża się ku niej jacht, pierwszy od czasu uwicia różczki czarodziejskiej. Teraz doszła znowu do poręczy balkonu; jacht był już blisko, że doskonale odróżnić można było pięć lub sześć siedzących w nim osób. Zdaje się, że obcy. Na przodzie stał sternik, przy sterze zaś młoda kobieta, a obok niej mężczyzna, bacznie uważający na jej ruchy.

Chora na balkonie przechyliła się za poręcz. Każdy rys twarzy jej zdradzał najsroższe męki, jakie przechodziła, ręką konwulsyjnie przytrzymywała wiązankę. Z bijącem sercem, pałającem obliczem, bez tchu, z szeroko otwartemi; błędnemi prawie oczyma — oczekiwała zbliżenia się jachtu.

Już odróżniało się głosy podróżnych, chwilami całkiem wyraźnie, chwilami zaś, jak przytłumiony szmer zaledwie.

— Szczęście — mówił ktoś z nich — jest pojęciem czysto pogańskiem. W Nowym Testamencie nie znajdziesz Pani o niem żadnej wzmianki.

— A więc zbawienie? — wtrącił pytająco inny.

— Nie — posłuchajcież — rzekł teraz ktoś znowu — ideałem rozmowy towarzyskiej jest ciągłe zmienianie tematu; zdaniem mojem byłoby odpowiedniem uczynić to teraz, kiedy zaczynamy powracać znowu do tego, co było już przedmiotem naszej rozmowy.

— Dobrze; a więc Grecy....

— Pierwej Fenicyanie?

— Cóż wiesz o Fenicyanach?

— Nic zgoła; ale dla czegoż mają być Fenicyanie zawsze pomijani?

Jacht podpłynął teraz pod sam dom prawie; w tejże samej chwili ktoś, na pokładzie zapalił papierosa. Słaby, drżący płomień zapałki, oświetlił na chwilę młodą kobietę, siedzącą u steru, a przy jego świetle wyłoniła się twarz młodej dziewczyny, okraszona miłym, pełnym szczęścia uśmiechem, wymykającym się z ust jej, nawpół uchylonych. Pogodne jeczoło i jasne oczy zwrócone ku niebu o marzyj cielskiej świadczyły zadumie.

Po chwili światło zgasło, — wtem cichy ledwie dosłyszalny plusk — jak gdyby coś do wody wrzucono — potem cisza. Jacht podąża dalej.

* * *

Rok blisko minął od owego czasu.

Słońce zaszło za ciężkie, ponure, krwawo oświetlone chmury, kładące purpurowe swe

żywe. Wyobraża sobie, że nie jest kochaną i odgraża się, że rzuci się w objęcia pierwszego lepszego mężczyzny. Upatrując powód swego nieszczęścia w trosce o Eyolfa, poczyna go nienawidzić i idzie nawet tak daleko, że przez chwilę życzy sobie, aby on nie istniał. Eyolf winien, bo on ma „złe oczy“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wizyta u Sienkiewicza.

Paryzki korespondent „Kraju“ tak opisuje wizytę swoję u Henryka Sienkiewicza w willi p. Abdank-Abakanowicza pod Paryżem nad rzeką Marną:

.... Rozpoczęła się gawęda i tu poczyna się mój kłopot. Ze stanowiska interviewerskiego przyznać muszę, że Sienkiewiewicz antypodą jest pana Melchiora de Vogüé, który skarżył się niedawno, że ciekawi dziennikarze wywiedzieć się chcą od niego wielu zajmujących rzeczy i zużytkować jego olej, który on woli na własny rachunek dostarczać do dzienników po tyle i tyle od wiersza. Sienkiewicz o swój olej nie jest tak trwożliwy: powód leży prawdopodobnie w olbrzymiej różnicy obfitości źródła, Sienkiewicz prosić się nie każe o wypowiedzenie, nie czeka na pytanie: o cokolwiek zahaczy rozmowę, gotów wszelkie dać wyjaśnienie, wygłosić swój sąd, opowiedzieć swe wrażenia, swe myśli, swe zamiary. Kto rozmawia z kimś z zamiarem spisania rozmowy, patrzy się na swego interlokutora z innego, dziennikarskiego stanowiska, widzi w nim swój przyszły artykuł i tak już z góry obmyśla pytanie, by wydobyć zeń rysy, które złożą się potem na jakiś, trzymający się kupy, obrazek. „Każdy przechadzający się po bulwarach nosi w swym brzuchu niezmiernie ciekawy artykuł — mawiał Villemessent — cała sztuka umieć go wydobyć:“ Z Sienkiewicza niczego dobywać nie trzeba, nie potrzeba nakręcać rozmowy do ram przyszłego artykułu: mówi o wszystkiem wyczerpująco, swobodnie, gotówby, gdyby go poprosić przyszłe swe powieści opowiedzieć:

— Przypominam, że odwiedziłem pana w charakterze dziennikarskim — wyrwało mi się mimowoli — czy wolno mi to zużytkować?

— Wszystko, co pan uważasz, że może kogoś zająć, odpowiada bez zająknienia i pali swoją sztukę dalej.

W pół godziny otrzymałem komentarz obszerny do listów z Afryki, usłyszałem wiele nieznanych epizodów, dowiedziałem się jak potężne wrażenie robi puszcza, naszkicowano mi obrazek z życia murzynów i obraz działalności francuzkich misyonarzów.

— Pan znasz Francyę? — i ja podzielam pańskie zdanie, i mnie bije tu w oczy egoizm i wyrachowanie... Powiedz mi pan, zkąd biorą się ci ludzie? Misyonarz angielski, dobrze płatny, zjeżdża tam z rodziną i urzęduje, póki dogadza mu klimat i miejscowe warunki; potem przenosi się gdzieindziej lub powraca. Misyonarz francuzki, „człowiek, co nie kłamie“, z zaparciem się siebie, sam jeden idzie w kraj dziki, uczy się języka, poznaje zwyczaje mieszkańców, żyje ich życiem, nie ustępuje ze stanowiska, choćby lat trzydzieści, póki nie zje go febra... Zkąd się biorą ci ludzie poświęcenia? za wiele ich na wyjątki; pełno ich w Afryce i na całym Wschodzie.

Dowiedziałem się następnie, że Sienkiewicz nie zaniechał dawnej myśli zwiedzenia kiedyś Indyi, ale z największą przyjemnością powróciłby do Afryki.

— Niema nic piękniejszego od puszczy; jak zrozumiał ją, jak przedstawił Lotti? Nie czytałem jeszcze jego „Le desert“, jak pan widzi, czytam obecnie „Le Lys rouge“ Anatola France (o książce tej i jej autorze wyraża się Sienkiewicz z niezmiernemi pochwałami).

Przepracowałem oczywiście i „Lourdes“. Moje zdanie? Zola ma ogromny talent, więc znać go i tutaj. Ale co panu pozostało w głowie po przeczytaniu tej książki? Mnie nic. Czy jest tam jedna żywa figura? U Dickensa np. w „Coperfieldzie“ są postacie, z któremi zaprzyjaźnić się można i zastanawiać się potem nieraz, coby myśleli, coby w danej chwili powiedzieli... O starym Dumasie nie ma co i mówić, nic się nie zdziwię, jeśli d'Artagnanowi postawią gdzieś pomnik na publicznym placu! A Zola?

Dowiedziałem się dalej, że w Paryżu u Loevego wyjdzie niebawem tłomaczenie francuzkie „Bez dogmatu“, pióra współpracownika „Kraju“ p. Wodzińskiego; wyjdzie w jednym grubym tomie, bo nakładcy francuzcy nie wydają obecnie powieści wielotomowych i o ten szkopuł rozbiło się już paru tłomaczów „Ogniem i mieczem“ i „Potopu“; że przygotowują się w Niemczech nowe tłomaczenia. Obejrzałem ipyszne wydanie „M-r Michel“ (Wołodyjowski), który cieszy się i w Anglii i w Ameryce tem samem ogromnem powodzeniem, co „Ogniem i mieczem“ i „Potop“. Następnie kolej przyszła na „Połanieckich“ i na „Quo vadis?“, nad którem pracował przez cały czas pisania „Połanieckich“. Rzym zna dobrze, bawił w nim wielokrotnie i długo, od 16 miesięcy robi jednak nad nim dalsze studya, czyta to starożytnych pisarzy, „w których wczytać się mu przyszło łatwiej niż przypuszczał“, to znów Rossiego, Friedlaendera, Allarda, Aubertina („udowadniającego przez połowę dzieła, że Seneka nie znał się ze św. Pawłem, a wykazującego w drugiej połowie niezbicie, że i św. Paweł nie znał się z Seneką“) Ghelongiona itd. itd.

Pisać jeszcze „Quo vadis?“ nie rozpoczął, nawet tej odrębnej sceny, dziejącej się w Judei, która wstęp stanowić będzie do rzymskiej opowieści.

— Po „Quo vadis?“ zabiorę się do „Krzyżaków“.

Powstałem. Miałem już materyału choćby na cztery artykuły; wdzięczny Sienkiewiczowi byłem za dziwną jego dla mnie uprzejmość, mniemałem przecież, że lepszy użytek robić może autor „Połanieckich“ ze swego czasu, niż ze mnę rozmawiać.

— Co? pan chce odchodzić? O tem niema najmniejszej mowy. Pan Abakanowicz zaprosił pana na obiad, rad nie rad, musi pan zostać i nudzić się ze mną, póki gospodarz pana nie wybawi.

Oczywiście zostałem. Mam streszczać rozmowę? Dotąd i dziesiątej części tego nie wspominałem, o czem mówił mi Sienkiewicz, a dalsze interview, wliczając czas obiadu, trwało godzin ośm. I mam streszczać rozmowę? Mądry, kto tego dokaże. Spotykałem ludzi, co często widywali się z Sienkiewiczem, i na pytanie nawet odpowiedzieć nie mogli, czy on milczący, czy rozmowny? Co więcej, słyszałem raz dwóch innych, sprzeczających się o jedną i tę samą rozmowę: „A to się dziś Sienkiewicz rozgadał!“ twierdził jeden. „Przez cały czas ani razu ust nie otworzył“ — upierał się drugi. I obydwaj mieć mogli słuszność, u Sienkiewicza i to jest możliwem. Sienkiewicz ma jedyny, niezrównany talent prowadzenia rozmowy, w której sam cofa się rozmyślnie na plan drugi, sam jak najmniej mówi, rzuca od czasu do czasu słowo jakieś, wystarczające, by pchnąć je tam, gdzie mu się podoba, słowo, które rozbudzi w rozmawiających myśli, których on sam wypowiedzieć nie raczy — on nigdy nie powie rzeczy, której się już słuchający domyśla, i dwóch słów nie użyje, gdy do porozumienia się wystarczy jedno. Zresztą słucha — i jak słucha!

Znałem ludzi kilku, z dowcipu słynnych i talentu zachwycania słuchaczów żywym swojem słowem. Pamiętam jednego, którego opowieści słuchano w uroczystem milczeniu; cisza zalegała, gdy usta otwierał, i cisza znów panowała, gdy opowieść swą skończył: nikt po nim głosu zabrać nie śmiał, z biedą wypełniano pauzę, aż znów przemówić zechciał. Z Sienkiewiczem dzieje się wprost przeciwnie: zapytaj go o cokolwiek odpowie ci zwięźle, tonem najpotoczniejszym i, mówiąc, patrzy ci w oczy uważnie. Nie jest to wzrok badający zaczepnie, dający obserwowanemu uczuć, że chce go przeniknąć.

---

blaski na płowe fale rzeki, świeży wietrzyk owiewał płaszczyznę pól dokoła. Uroczystej ciszy nie zakłócały teraz świerszcze; plusk wody poruszanej i szelest nieustanny w nadbrzeżnem sitowiu — jedynym były życia dowodem.

Zdala widać było jacht zbliżający się w tę stronę.

Nad brzegiem rzeki stanęła chora kobieta z narożnego domu.

Rzuciwszy wtenczas, za młodą dziewczyną, swą wiązankę tajemniczą — z nadmiaru wzruszeń zemdlała. Jednakże, wskutek silnego wstrząśnienia, a może wskutek porad nowoprzybyłego w okolice te lekarza — nastąpiły w chorobie jej bardzo ważne zmiany. Po krótkim, choć bardzo ciężkim czasie, powracać zaczęła do zdrowia — po kilku zaś miesiącach choroba ustąpiła zupełnie. Z początku była, jakoby oszołomiona ową pełnią zdrowia, niedługo to jednak trwało. Wkrótce straciła humor, posmutniała, opanowało ją uczucie niepokoju i cichej rozpaczy — obraz młodego dziewczęcia na jachcie, niezatarty w jej pamięci, prześladował ją, gdziekolwiek była.

Z początku widziała je tak jak wówczas świeże, zdrowiem kwitnące, gdy klęcząc błagalny wzrok ku niej podnosi. Po niejakim czasie znikło, stało się niewidzialnem. Nna czuła jednak nieustannie bliską jego obecność — słyszała jęk cichy za dnia przy łóżku, nocą zaś w ciemnym izby kąciku. Niedawno temu ucichło, lecz stało się znowu widzialnem, dotykalnem nieledwie. Blade, o wychudłej twarzy spoglądało ku niej wzrokiem pełnym wyrzutu i skargi niemej.

Dziś wieczorem zeszła chora tuż nad brzeg rzeki; trzymając w ręku kawałek drewienka robiła znaki krzyża na miękkim piasku nadbrzeżnym. Od czasu do czasu podnosiła głowę, jakby nadsłuchując, po chwili jednak, wracała znowu do smutnego swego zajęcia.

Dokoła rozległ się głos dzwonu z wieży. Kobieta starannie wykończyła znak ostatni, poczem odkładając drewienko, uklękła i zaczęła modlitwę. Wkrótce powstała z klęczek i weszła do wody. Uszedłszy kawałek, gdy woda sięgnęła jej do piersi, przystanęła, otwarła ramiona i pogrążyła się w mętnej, szarej fali. A zimna fala porwała ją, pociągnęła w swą głębię — poczem, jakby nic nie zaszło, pomknęła koło wioski, koło pól zielonych, dalej, coraz dalej...

Teraz był już jacht tak blisko, że można było poznać stojących na pokładzie. Było tu tych dwoje, którzy wówczas obok siebie przy sterze siedzieli, a którzy teraz swą poślubną odbywali podróż. Tym razem jednak on był u steru, ona zaś otulona wielkim szalem, w czerwonej czapeczce na głowie... stała w pośrodku jachtu, wsparta o maszt, żagli pozbawiony. Z cicha nuciła piosenkę.

Teraz minęli ów dom. Młoda kobieta tkliwie spoglądała na swego sternika, wzrok swój zwróciła potem ku niebu. Patrząc na przeciągające ponad głowami ich chmury, wsparta o maszt, zaczęła nucić, zrazu cicho, potem coraz głośniej, dziką, namiętną piosenkę.

Wzrok spokojny, myślący, uważny, głęboki. Zdaje ci się, że człowiek ten niezmiernie twego zdania ciekawy, powiedz słowo, jeszcze podwoi uwagę; aniś się spostrzegł, że myśl ci swą podsunął, z takiem słucha cię zajęciem. Wypowiedziałeś rzecz swoją głupio, czy mądrze, nigdy tryumfalnego „a ja panu mówiłem“ nie usłyszysz: twoje słowa stanowczy wpływ wywarły na przebieg rozmowy; liczy się z niemi, na nich opiera dalsze swe wywody, że zachęcony prawić gotów jesteś dalej. A on tymczasem tą swą uwagą, swym wzrokiem, tem rzuconem od czasu do czasu słówkiem tak rozmawiających podnieca, drażni mózgi, taką dają im ostrogę, że ożywiają się coraz więcej, głowy coraz raźniej zaczynają pracować, słowa coraz płyną łatwiej, rozgrzewają się, on podkreśli, co godne uwagi, dorzuci im czasem łuczywa, i przebiegu rozmowy z takiem śledzi przejęciem, że jakiś obserwator z boku zastanawiać się może, czemu człowiek ten słucha wszystkiego z taką zaciekłością, chyba ciekaw, w jakim kształcie powrocą doń własne myśli, przepuszczone przez filtry najróżniejszych mózgów! Nie widziałem człowieka, coby tak słuchać umiał.

Przytem czujesz, że to szszere, to nie komedya, on sam nie zdaje sobie zapewne sprawy, że tobie mówić każe, co sam wyłożyłby znacznie trafniej: wtrącił swoje słówko, bo mu się na myśl nasunęło: budzi ono myśli, bo ich wiele w zarodku zawiera; dwóch nie powiedział, bo czuł, że i tak zrozumiesz. Wogóle rozmowa z Sienkiewiczem toczy się często po za obrębem mówionego słowa: odpowie ci na to, o co pytać zamierzałeś, zrozumie cię nie tak, jakeś powiedział, ale lepiej niżeś pomyślał, że aż dziwisz się własnej wymowie. „Nie wiem, co się stało, żem tak się dziś rozgadał“ — mówił mi raz ktoś, co ledwie zdań pare wmieszał do ogólnej rozmowy; a inny, co przez parę godzin nikogo do słowa nie dopuszczczał, dziwił się potem „jaki Sienkiewicz rozmowny“ — a tamten słuchał tylko!

I spisuj tu taką rozmowę. Wolę przyznać, żem do tego niezdolny, nie podołałyby zadaniu i najlepsze fonografy p. Abakanowicza: możeby się popsuły. Ws omnę przecież jeden jej epizod. Kiedy Sienkiewicz opowiadał, że jeszcze ani jednego wiersza do „Quo vadis“ nie napisał, zapytałem:

— A odczyt w Zakopanem? wszak to był wyjątek z „Quo vadis“?

— Wyjątek z nienapisanej powieści. Nawet nie wyjątek, bo nie wćielę żywcem w mą książkę szkicu tego, dającego tylko wyobrażenie o tle, na którem nakreślę mą powieść. Napisałem ten urywek umyślnie na ów odczyt. Nie miałem siły odmówić: przyszli mię prosić o odczyt górale! choć zajęty byłem pisaniem „Polanieckich“.

— A równocześnie pracował pan nad „Rzymem“ i tworzył powieść zupełnie odmienną? Czy myśl można rozdzielić na dwa przedmioty tak odmienne?

— Przeciwnie. Zajmowanie się wyłącznie jednym przedmiotem zbyt męczy, zbyt absorbuje, śni się on i sen odbiera. Do pisania powieści zabieram się, gdym ją już przetrawił, obmyślał wszystko, chodzi już tylko o napisanie, choć, co prawda, zmienia się ona nieraz pod piórem i rozrasta. Podczas pisania jednej myśli, rozwijam drugą, następną.

— Gdy studjuje pan jednak „Rzym“ i to z myślą powieści, gdy w głowie powstawać poczynają przyśli bohaterowie, zarysowywać obrazy, czy nie bierze pana niecierpliwość skreślenia scen, które widzi już pan przed oczyma?

— Nigdy rzeczy nie piszę urywkowo, postępuję po porządku. Ja piszę wogóle bardzo trudno, wśród pisania każdej powieści wkładam się dopiero do pióra, że pod koniec łatwiej mi to idzie, niż z początku, a i tak, gdybym się nie zmuszał do pisania od ręki, bo zaraz drukować rozpoczynam i dziennik czekać nie może, to kreśliłbym, mazał i poprawiał bez końca. A cóż dopiero, gdybym napisał sceny, które więcej mnie pociągają, reszty nie wymęczylbym chyba nigdy. Z czasem wyrabia się w człowieku i cierpliwość i pamięć. Pomysł w głowie czekać może i długo. Np. „Post tenebris lux“, rzecz, o której krytyka wyraziła się bardzo pochlebnie, to pomysł z przed lat ośmiu. Dobrze nawet czasem porzucić chwilowo temat, o którym się myślało, zarysuje się potem wyraźniej, wystąpi jaśniej.

Wezwano nas do obiadu, do którego oprócz domowych, zasiadł pan Władysław Mickiewicz i podpisany, Po głowie roiły mi się rzeczy, którem dopiero co słyszał, i nieznacznie, pod stołem, część ich choć zanotować pragnąłem dla pamięci. Źle się wybrałem. Sienkiewicz swym sposobem, pół-milczkiem, opowiedział już o potomkach rzekomych Zagłoby, którzy zgłaszali się doń o informacye o spadek po znakomitym tym mężu; Mickiewicz z właściwą sobie niewyczerpaną werwą, malować począł dawne emigracyjne typy; gospodarz domu opowiadał zabawne przejścia z gonitwy po Ameryce, gdy, ściągając yankesów na paryzką wystawę, co dnia i co 500 kilometrów wygłaszał odczyt, odbywał konferencye i zwoływał meetingi.... I tu znów notować począłem. Co za żniwo! Ale zwolna bunt rodzić się począł w mych piersiach: dziennikarz także człowiek! Precz od się rzuciłem ołówek i słuchać począłem, uszu nadstawiając — dla siebie.

— Kiedy odchodzi ostatni pociąg? — przerwałem wreszcie żywą pogadankę.

— O 12.

— To znaczy za pięć minut. Ostatni czas: spieszmy.

— Ja z panami muszę się pożegnać — wtrącił Sienkiewicz — pojutrze wyjeżdżam.

— Dokąd? jeśli wolno zapytać.

— Sam jeszcze nie wiem. Na razie do Szwajcaryi.

— Do Szwajcaryi? Ależ tam teraz zimno. Wolałbym raczej do Tunisu.

A coby się stało wówczas z „Quo vadis“? gdybym znów zakosztował Afryki! Z wielką powieścią w głowie jechać nie można tam, gdzie zbytnio człowieka ciągnie...

— Zatem szczęśliwej podróży.

Wierzbięta.

Prywatne stosunki z muzą.

(Ciąg dalszy.)

Spojrzeliśmy wszyscy na siebie znacząco, słabo nawet ukrywając śmiech, gotowy wybuchnąć całą kaskadą.

Laureat jednak posmutniał nagle, rozciągnęła mu się twarz, jak gdyby ze zdziwienia, że sam na ten pomysł nie wpadł, potem z frasunkiem komicznym w oczach zaczął prawie błagać o odwołanie tych Hiobowych słów.

— E to nie może być, ty chyba na kawał mię bierzesz, komuż by się chciało wydawać pieniądze na telegramy, musiałby być chyba ostatnią .... świnią.

— No wierz lub nie wierz, jak ci się podoba, a ja radzę nie łudzić się — odpowiedział artysta tonem ultra-statecznym i z cudownem w słowach spokojem,

Ale tu się tama zarwała, wszyscy parsknęli śmiechem ofiara chwilowej mistyfikacyi odetchnęła swobodniej.

Dwaj ci aktorowie odgrywali nieraz podobne, niczem nieopłacone, nieoszacowane sceny; jeden w katuszach ciągłej obawy i udręczeniach ciągłej nieobecności gotów był uwierzyć i nieuwierzyć, jak posłuszne, podatne medium pod okiem wytrawnego hypnotyzera — drugi specyalista od „kawałów“ z wiecznie świeżą, niewyczerpaną fantazyą Rabelais'go *en miniature*.

Z tą zmiennością usposobienia nie mogła iść w parze stałość i dojrzałość w stosunkach koleżeńskich. Pewnego razu, gdy mu po powrocie z dalekich stron koledzy składali wizyty, przyjął ich ni stąd ni z owąd ozięble i cierpko, jak gdyby w czasie jego nieobecności wyrosła między nimi straszna jaka intryga.

Rzecz się wyjaśniła po kilku dniach. Nieszczęsny podejrzliwiec ubrdał sobie, — ponieważ przywiózł z sobą trochę mamony, — że odwiedziny miały na celu wyłudzenie pożyczek. Jednemu nawet wprost impertynencko to wypowiedział.

Komizm tego napadu pojąć może tylko ten, kto zna wstręt całej braci w Apolinie, o której opowiadam, do zaciągania długów po za obrębem ostatecznej potrzeby...

Za to, gdy się Kociokwickiemu uśmiechnie muza i zeszle listek wawrzynu, serce jego nagle topnieje jak wosk, pragnąłby wtedy wszystkich przytulić do łona, wita się i żegna nadzwyczajnie szeroko i w porywie dziecięcego rozrzewnienia przeprasza za wszelkie wyrządzone krzywdy lub popełnione niewłaściwości, nie pojmujac bynajmniej, że go cenią i lubią, i nigdy nań nie gniewają ani obrażają.

Gdyby można było jakim neuroskopem zmierzyć ilość wahań tego niespokojnego organizmu, przypływów i odpływów usposobienia i energii, otrzymana summa wyobrażałaby ogrom wzruszeń i wstrząśnień prawdziwego artysty. Jest to owa typowa recepta, formuła psycholongiczna, określająca ducha twórczego i żywotnego: dużo komizmu, wiele dramatu, promienue błyskawice szczęścia i ponure szturmy rozpaczy.

Widziałem z Lido wzdymający się pod tchem huraganu Adryatyk; fale wznosiły się jak góry i za chwilę opadały tworząc głęboką otchłań. Dusze artystów, jak oryginał niniejszego wizerunku, tem są różne od morza, że wzbijają się i opadają z równą mocą, ale prawie zawsze Nie jestto bynajmniej męczeńsko-błazeńskim przywilejem naszej epoki. Takim, zupełnie takim, był Torquato Tasso: przeczytajcie sobie Goethego głęboki, na jego życiu osnuty dramat..

I znowu kilka kart muszę przewrócić bez zatrzymania się na nich. Miernoty? Bynajmniej i wielkie talenty, ogromna praca, ale nie zostawiły one pieczęci na twarzach. Łatwo możnaby te fizyognomie staranne, odnieść do sfery „umiarkowania i punktualności“ jak nazywa filisterską burżuazyę pewien satyryk, gdyby nie zaostrzona „w szpic“ bródka, nasuwająca podejrzenie, że to także pogrobowcy Apellesa. Jest ona symbolicznym znakiem prawie wszystkich monachijskich malarzy.

A może i pod temi modnemi surdutami kołatały niegdyś, a może kołatają i dziś jeszcze niespokojne serca, a pierś wzbierała dumą i ściskała się śmiertelnym strachem. Zapewne tak było, ale minęło, ciała się zaokrągliły, twarze nabrały wyrazu spokoju, pogody i pewności siebie. To są innemi słowy żeglarze, co już zawinęli na zawsze do przystani, syci trawiących szamotań się z żywiołem. Znaleść tu można pyszne kwitnące rumieńce, harmonijnie zaokrąglone brzuszki, eleganckie wykałaczki w palcach lśniących od sygnetów, zaproszenia na obiad do rejenta Luitpolda.

Nadwiślanie, nie są plemieniem z gruntu filisterskiem, mimo, iż po wsze czasy produkowali cale armie szewców, tak jak bawarczycy piwowarów i bednarzów, ale zauważyłem, że bardzo chętnie zamieniają śmiały i niebezpieczny lot ptaka śród ostrych skał na wygodne i powolne dreptanie po utartym gościńcu. Niekiedy rogate „ja“ wyziera jeszcze z płócień, przypominając mglisto, że autor miał swój temperament, swą ekscentryczność, ale samo życie zdradza na każdym kroku zrównoważenie i szarość gustów i woli. Heine nazwałby to filisterstwem pomarańczowem, — u ludzi bowiem całkiem pospolitych bywa ono „kartoflane“.

Na usprawiedliwienie ich możnaby przytoczyć parę rozdziałów z wielkiej księgi nędzy, tej nieodłącznej prawie towarzyszki młodości naszych „mistrzów pędzla“, gdyby nie były one tak nużąco długie i przygnębiające. Kto przez cały szereg lat żywił się taką strawą bezkrwistą, jak nadzieja i pochwały kolegów, nie dziw że zaproszony raz przez fortunę do suto zastawionego stołu nie chce się z nim ani na chwilę rozłączyć. Dawne zuchwalstwo natury płynie już tylko wąziutkiem korytkiem, jakiś wyraz ze słownika bohemii, dobry humor, Dandysowskie uwijanie się koło dam — oto wszystko.

Weźmy np. tego w szerokie, jak majtkowskie, „mycce“ na głowie, którą sobie grzeje łysinę

w pracowni. Zwinął ją fantazyjnie i już mu się prawie wszystka fantazya... wyczerpała: prowadzi „żywot poczciwego człowieka“ na łonie rodziny, lubi wygody, strawną kuchnię, konną jazdę, różne hygieniczne procedury, i nie potrafi pomyśleć o przebytej ongi kwarantannie niedostatku bez wzdrygnienia... Zarazem jednak pyszni się nią i ma pełną świadomość szczytnego tryumfu wytrwałości i pracy.

Bo i któżby się nią nie pysznił? posłuchajcie, jaka to była przeszłość.

Był dzieckiem gminu, głodnem, prawie nagiem i ciemnem, jak sam fanatyzm. Ulitowali się nad nim ludzie i oddali do terminu; pierwsze kroki jego były... artystyczne, chadzał po kuchniach i izbach, które pobielał jego majster, malarz pokojowy. Że jednak drażniło go jednostajnie żółte albo perłowe tło ścian, które tworzyły przybytek rondli i garnków, więc pędzelkiem nadprogramowym, lub też kawałkiem węgla rysował twarze, kto wie, może twarze bohaterów kulinarno-pożarnej sielanki. Za nieproszone dodatki, dodawano mu pono do suchego chleba trochę gorącego sadła, nie za skórę lecz na skóre...

Taka była pierwsza jutrzenka sławy.

Widocznie jednak w owych młodocianych produkcyach tlała iskierka nieuleczalnej namiętności, a może i coś więcej. skoro znaleźli się szaleńcy, których one zaciekawiły nieco i usposobiły dla wyrostka poważniej i życzliwiej. Odebrano go artyście od pobielania i powierzono mistrzom mniej szerokiego i długiego pędzla, a także i światłodawcom, których w dobroczynnej Warszawie zaofiarowało się naraz bezinteresownie kilku.

Ludzie spiknęli się najwyraźniej przeciw niedoli i obskurantyzmowi, ażeby im wydrzeć jednego adepta.

I powiodło im się cudownie. Wrażliwa organizacya malarczyka chłonęła wszystko jak gąbka. W krótkim czasie zaszedł tak daleko, że mógł zostać uczniem Matejki, a później zyskać jego gorące uznanie. Po kilku latach przeszedł pod kierunek jednej z lepszych europejskich akademii. Tu, zdala od rodzinnego kraju, pozbawiony wszelkiej opieki i stosunków, spotkał się oko w oko z kościotrupiem widmem przymusowego postu, który trwał długo, bardzo długo i stwierdził raz jeszcze pewnik, że człowiek umie być więcej stalowym niż sama stal. Zęby nie miały co gryźć, i dobrze się stało, bo mogły przynajmniej swobodnie szczękać z zimna, które po zastawieniu jedynego palta wlazło razem z kwitem lombardowym pod surdut i serdecznie przez parę miesięcy ściskało nieboraka.

Przejmujący do szpiku kości ziąb przeplatało niekiedy uczucie straszliwego, wewnętrznego upału, po którym wargi były jakgdyby przypalone żelazem, a w ustach zostawała żółć. Taką chwilę zawdzięczał od czasu do czasu jednemu z najlepszych profesorów wiedeńskich, który nie dla żartu, lecz z przekonania, rzucał mu taki, dajmy na to, frazes.

— Pan niemasz najmniejszego talentu.

W podobnych razach palto było niepotrzebne... Młody aspirant do stanu artystycznego zamało miał doświadczenia, a za dużo wiary w ludzi, ażeby wiedzieć o tem, że profesorowie jak wszyscy wogóle szkolarze sa od zabijania talentu i że gdyby np. istniały lombardy ducha, za ich sądy i mądrości nie dawanoby tam złamanego szeląga... I nasz więc eks-drapichrust na owem cenzurowanem czuł się jak na stosie.

I przez ten ogień przeszedł i nie spłonął w nim. Choć „niema za grosz talentu“, niektóre płócienka jego idą na wagę złota, ba znacznie wyżej i gdyby nie dawny nałóg odtwarzania wielkich szkół i stylów, zamiast szukania własnej indywidualności, która niewątpliwie ukryła się zdrzemnięta, — wdrapałby się niechybnie na sam szczyt sztuki.

W każdym razie przedziwnie odbija wytworny jego smak, smak prawdziwego karmazyna malarstwa, od tła ulicznego brudu, na którym wyrósł kawał niepozornej rudy i, przetopiony w dobrym tyglu, dał najniespodzianiej czysty, drogocenny kruszec, na widok którego nie chce się wierzyć, że ma tak podły rodowód. Dziś jest to natura wrażliwa, jak tego wymaga psychologia artyzmu, na wszystkie sfery piękna, wykształcona, zbrojna w erudycyę i cytaty, których mógłby pozazdrościć niejeden literat i przysięgły estetyk.

Powłokę pozornego spokoju czasem przebija wrzący prąd, jak islandzki hejzer. Płynie wtedy ciekawe wyznanie, pełne samokrytyki, samoanalizy, refleksyi, która dochodzi niemal do podwójnej świadomości. Usta prawią o dziejach własnej duszy, jak o kimś innym zupełnie, jak o drugiej w tem samem łonie duszy, a wówczas opowieść zaczyna pobrzmiewać tonem goryczy i czemś, co zakrawa na wszystko, tylko nie na zadowolenie z życia, dotychczasowych laurów i ludzi. To też od ostatnich trzyma się zdala; zazdrość, ciasnota i podłostki, nieodstępne jaszczurki wszelkich polskich kolonii, dają mu na każdym kroku poznać, że jest parweniuszem. W koncercie gadzinowych syków prym trzymają, *comme toujours, panie.*

Cezary Jellenta.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Szkoła i wychowanie.

Oświata ludu

III.

Powieści wśród wydawnictw ludowych pomieszczane podzielić można na trzy kategorye. Do pierwszej zaliczamy książeczki zupełnie odpowiadające celowi, przystępnie pisane, zajmujące i pożyteczne. Drugą stanowią książki może zkądinąd dobre, lecz ani formą, ani treścią do poziomu umysłowego czytelników nie zastósowane, trzecią bardzo popularne, lecz bardzo niemądre, szkodliwe, ogłupiające i pozbawione zdrowej moralnej podstawy. Ta ostatnia kategorya niestety jest bardzo liczna. Awantury o smokach, dyabłach, rozbójnikach, skrzydlatych rycerzach, o strasznych zbrodniach, niemożliwych cnotach, które często wcale cnotami nie są, okrucieństwach i cudach dokonywanych za pomocą czarodziejskich zaklęć — zapełnićby mogły całe biblioteki i bez kwestyi znajdują zawsze chętnych czytelników. Wpływ ich na umysły jest bezwarunkowo zgubny; nie mówiąc już o częstym w nich bardzo braku poczucia moralnego, same takie oswajanie ludzi z nieprawdopodobnym zupełnie rozwojem wypadków, z nieustanną interwencyą nadprzyrodzonych sił, ze zwycięztwami odnoszonemi bez zasług, z bogactwami zdobywanemi bez pracy, z powodzeniem przychodzącem bez wysiłku — zatraca w nich pojęcie rzeczywistych warunków bytu, wyrabia nieopatrzność, lekkomyślność — utwierdza ciemnotę. Pod tym względem celują chełmińskie wydawnictwa księgarni Fiałka. Ciekawym lub niedowierzającym polecamy przeczytanie „Cierpliwej Gryzeldy“. „Przygód obieżyświata“, „Cierpliwej Heleny“ i innych wreszcie. Najlepsza stosunkowo z tych książeczek: „Los sieroty“, która nawet przez Towarzystwo Czytelni Ludowych zakupioną została, ma jeszcze bardzo grube wady, dla których bynajmniej polecać jej nie można. Sierotą jest uboga lecz cnotliwa szwaczka, którą bogata bankierowa przez zazdrość chce skompromitować, podrzuca jej kosztowną bransoletkę i oskarża o kradzież. Bogate bankierowe niewątpliwie dokuczają czasem biednym szwaczkom, lecz nie przez zadrość i nie bawią się w podrzucanie kosztowności. Mniejsza zresztą o ten szczegół. Gorszem jest zakończenie. Sierota traci zarobek i zagrożona biedą — wyjeżdża wraz z innymi emigrantami do Ameryki. Kieruje się w tym razie wskazówką otrzymaną we śnie przez św. Wincentego a Paulo. W porcie nowojorskim zostaje okradziona; zmęczona, głodna, bez dachu, dzwoni do pierwszej lepszej kamienicy, tam znajduje przygotowaną dla siebie kolacyą, nocleg wygodny, a nazajutrz właściciel domu — milioner amerykański wzruszony jej opowiadaniem oświadcza się o jej rękę, zostaje przyjęty i biedna szwaczka od razu staje się panią olbrzymiej fortuny.

Wypadki takie naturalnie są równie niemożliwe po tej i po tamtej stronie oceanu. Na pociechę biednych szwaczek można im przedstawiać w powieściach zwycięztwo wytrwałości i pracy, przełamujących przeszkody i tryumfujących wśród przeciwności; można dowodzić, że uczciwość i cnota mimo intryg złych ludzi zawsze w końcu uznanie znajdują, lecz obiecywać rękę zamorskich milionerów, nagłe zbogacenie się cudownym sposobem — nęcić świetnemi fantasmagoryami do zamorskich wędrówek — jest w każdym razie rzeczą naganną. W czytelniach bezpłatnych, utrzymywanych przez towarzystwo ilość książek na potępienie zasługujących jest zresztą minimalną. Nie ma tam ani historyi o żydach, ani „Godziny śmierci“. ani wreszcie opowiadania o s a r m a c k i c h książętach „Brundwiku i Sztylfrydzie“. — Natomiast dość często trafiają się dzieła nie dla ludu pisane i prawdopodobnie czysto przypadkowo, przy okazyi przez czytelnie nabyte. Są tu tłumaczenia z obcych języków jak n. p. „Recha“. powieść, której nikt z prostych czytelników ani zrozumieć, ani chętnie czytać nie może; jest i „Rzym za Nerona“ i kilka innych powieśc Kraszewskiego niezupełnie dla tej kategoryi czytelników właściwych. Z drugiej strony nie mieszczą się w nich dziełka nowe i bardzo polecenia godne n. p. powieści Dziryta na tle rzeczywistego życia kreślone i piękną przeniknione tendencyą, dobra bardzo powiastka historyczna z czasu pierwszego napadu Tatarów: „Ofiara z krwi polskiej w obronie chrześciaństwa“ i sporo innych. Należałoby może jednak zapas pokarmu umysłowego powiększać i odświeżać, a zresztą i zachęcać zdolnych i dobremi chęciami ożywionych autorów, swą pracę zpożytkować pragnących na polu. na którem zresztą ani sławy ani zysku spodziewać się dla siebie nie mogą.

Najsłabiej przedstawia się w piśmiennictwie ludowem dział książeczek, popularyzujących naukę. Pod tym względem Warszawa i Galicya stanowczo nas wyprzedziły, i tu i tam bowiem pojawia się w tym kierunku dużo rzeczy znakomicie pisanych i świadczących o znajomości umysłów prostych. — U nas widzi się wprawdzie w czytelniach książki o hygienie, chemii, ekonomii politycznej traktujące, lecz autorowie ich albo wcale do ludu przemawiać nie zamierzali, albo też, nie umiejąc zniżać się do jego poziomu, całkiem niezrozumiałym przemawiają dla niego językiem. Same tytuły zresztą odstraszyć mogą: Hygiena, ekonomia, chemia — to wyrazy bez znaczenia dla czytelników tej sfery — a pamiętać trzeba i o tem, że dla nich właśnie tytuł znaczy bardzo wiele. — W tekście napotykamy takie n. p. zdania: „Twierdzenie zasadnicze co dopiero wypowiedziane stosuje się w porządku ekonomicznym przedewszystkiem do równowagi między przemysłem ekstrakcyjnym a przeróbkowym“. Możemy być pewni, że przesylabizowaszy okres powyższy czytelnik zamknie książkę i odłoży ją na bok.

Popularyzowanie nauki nie jest rzeczą łatwą; należy się ile możności w wyborze wyrazów ograniczać używając tylko takich, któremi lud się posługuje, przechodzić od zjawisk prostych i znanych do mniej zwykłych i więcej skomplikowanych, wyprowadzać wnioski z faktów częstych i pospolitych itp. — U nas pole to prawie całkiem odłogiem leży, a przyczyny tego zaniedbania są różnorodne i tkwią może głębiej niż się zdaje. Wszyscy prawie Polacy pruskiego zaboru naukę pobierają w języku niemieckim, ztąd też, gdy chodzi o wykład nabytych wiadomości po polsku, spotykają niemałe językowe trudności. Jeśli zaś trudno im przemawiać w tych kwestyach do ludzi intelligentnych, którzy i cudzoziemskie wyrażenia pojmują, to o wiele trudniej dać się zrozumieć prostaczkom, dla których wyrazy i definicye staranniej jeszcze i umiejętniej dobierać należy. Nie to jest jednak jedyną

przyczyną. — Sądzę, że wprost poczucie potrzeby oświaty dla ludu nie jest jeszcze u nas dość silnem, że tam gdzie tendencye polityczne nie grają żadnej roli, nauczanie prostaczków jest nam mniej więcej obojętnem, a wreszcie — niech mi będzie wolno i to spostrzeżenie śmiało objawić — że poziom naszej intelligencyi ogólnie biorąc jest dość nizki, a zapałem dla nauki się nie odznaczamy. —

Nie przeczę, że i w naszem społeczeństwie mamy ludzi głęboko wykształconych, że prawdziwie inteligentnych i myślących istnieje pewna nieliczna stosunkowo garstka, jednakże ogół, większość t. zw. intelligencyi ceni naukę głównie jako środek zdobycia kawałka chleba, a za cel studyów uważa nie umiejętność samą, lecz patent i stopień. Obojętni dla własnego wykształcenia, chłodno też praktujemy oświatę ludu. Różnica między naszym a jego umysłowym poziomem staje się coraz mniejszą, lecz dzieje się to raczej z naszą stratą, niż z jego korzyścią. Stosunki te bezwarunkowo wymagają reformy, lecz od czego zacząć? Zbudzić żywszy ruch na polu oświaty ludowej, czy podnosić poziom umysłowej inteligencyi? Sądzę, że jedno z drugiem iść może równolegle, a raczej, że jedno bezwarunkowo drugie wywoła. — Czynne zajęcie się sprawą wydawnictw ludowych pociągnie za sobą nieuchronnie żywszy prąd myśli u ogółu, a to znów ze swej strony zrodzi gorętsze pragnienie oświaty dla ludu. —

Inicyatywę podjąć tu powinno Towarzystwo czytelni ludowych. Zamiast ograniczać swą działalność na zbieraniu składek, zakupywaniu książeczek i rozpowszechnianiu takowych, rozszerzyćby ją powinno uzupełniając popularne piśmiennictwo w tych kierunkach, w których brak odczuwać się daje. — Należałoby w tym celu prowadzić dokładne wykazy dziełek w ruchu księgarskim się znajdujących, wydawać katalogi uwagami krytycznemi zaopatrzone, a zebrany w ten sposób materyał porównać, zestawić i wykazać, co na tem polu najważniejszego do zdziałania pozostało. — Wnioski takie należałoby publikować, ogłaszać konkursy na napisanie dziełek, których brak odczuwać się daje, zachęcając autorów do pracy, jaka w danym razie najpożyteczniejszą się okaże.

Naturalnie wskutek tej reformy przybyłoby członkom Towarzystwa tak wiele pracy, że może w obecnym składzie podołaćby jej nie mogli, dla tego też powinnyby wzmocnić swe szeregi nowemi siłami. Dałoby się to niewątpliwie przeprowadzić, gdyby wstęp do Towarzystwa otworzono dla kobiet — mniej przeciążonych publicznemi obowiązkami niż mężczyźni. Niewątpliwie okazałyby się w tym kierunku bardzo pożytecznemi pracownicami. Każda z nich ma dosyć styczności z ludźmi niższej sfery i poznać ją może choćby przez codzienne stosunki z własną służbą, każda też nieomal zajmuje się jakiemiś dobroczynnemi sprawami, które jej w położenie i warunki bytu warstw niższych wniknąć pozwalają. — Nasze panie i panienki zyskałyby przez to ważne pole działania, na którem z ogólnym pożytkiem mężom i braciom pomagaćby mogły. Zmiana taka nie byłaby zresztą bezprzykładną nowością, wszędzie prawie, gdzie kobiety do pracy społecznej się przykładają, oświata ludu wiele im zawdzięcza, a i u nas nawet mamy spory zastęp autorek na polu piśmiennictwa popularnego zaszczytnie znanych. Jeśli więc udaje im się pisać — dla czegóż nie miałyby rzeczy już napisanych umiejętnie oceniać, starannie wybierać i gorliwie rozpowszechniać? Sprawa zyskałaby na tem niewątpliwie, zyskałyby również obie połowy naszego społeczeństwa, gdyż wspólnie i łącznie działając, poznawałyby się wzajemnie lepiej i głębiej spotykając się nie w sztywnym nastroju ceremonialnej wizyty, nie w sztucznem oświetleniu balowej sali, lecz tam, gdzie charakter człowieka odsłania się w całej pełni, w słonecznym blasku prawdy — przy pracy.

I. Moszczeńska.



KRONIKA KRAKOWSKA

Kraków, 1 stycznia.

(Śmierć Rodakowskiego. Co się stanie z dyrekcyą Szkoły Sztuk Pięknych? Biedni „panowie.“ Rozwiązanie Czytelni akademickiej.)

Podając przed dwoma tygodniami kilkanaście dat biograficznych, tyczących się karyery artystycznej Rodakowskiego, nie sądziłem, że piszę z góry jego nekrolog dla Czytelników „Przeglądu.“ Nic nie zapowiadało tak prędkiego końca człowieka pochylonego wprawdzie laty, ale silnego, czerstwego, pełnego jeszcze energii i życia. Zaziębił się na parę dni przed Bożem Narodzeniem, wigilię spędził w łóżku, a w trzy dni później (28 grudnia) o godzinie pół do 4tej nad ranem zakończył swój żywot zasłużony. Pogrzeb jego odbył się 30go grudnia. Jak na Kraków, który po śmierci oddaje cześć tylko głośnym i rozreklamowanym wielkościom, lub też ludziom „własnym,“ udział publiczności był wcale liczny. Nie było wprawdzie straży ogniowej, patryotyczni sokoli nie czuli się w obowiązku wystąpić gremialnie na pogrzebie tego, co pierwszy sztukę polską rozsławił po świecie, nie grała i patryotyczna „Harmonia,“ nie widziano tłumów patryotycznej młodzieży, nawet wieńców nie raczono nieść za trumną, lecz dla wygody powieszono je na karawanie, ale bądź co bądź pogrzeb należał do liczniejszych, co po części zawdzięczać należy i temu, że zmarły miał dwóch braci jenerałami i rozgałęzione stosunki rodzinne wśród pół-arystokracyi galicyjskiej. Przy wyprowadzeniu ciała z domu przemówił krótko, ale dobrze, wiernie charakteryzując zmarłego, prof. Maryan Sokołowski.

Niespodziewana śmierć Rodakowskiego wywołała szczery żal nietylko w gronie jego przyjaciół, ale i wśród tych wszystkich, którzy byli w stanie zrozumieć pierwszorzędne jego zasługi, jakie położył przez wzniesienie naszej sztuki na wyżyny europejskie. Do żalu tego przyłączył się i drugi żal: za człowiekiem, któremu właśnie nadarzała się sposobność kształcić młode pokolenie artystów. Sam on już skończył swoją karyerę artystyczną, ale jako dyrektor Szkoły Sztuk Pięknych mógł otwierać karyerę innym. Sam mistrz w pewnym względzie niezrównany, należał do tych wyjątków, którym dane było zapoznać się z całą przeszłością sztuki europejskiej i ze wszystkiemi jej nowoczesnemi kierunkami. Wykształcony, pełen smaku, trzeźwy w poglądach artystycznych, nieuprzedzony do pewnych kierunków, był jakby stworzony na przewodnika młodzieży, poszukującej tajemnic odtwarzania piękna plastycznego.

Kogo po Rodakowskim upatrzy minister oświaty na dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych, przewidzieć niepodobna. Wybór będzie bardzo trudny, ale trudności tego rodzaju są zawsze bardzo na rękę rządowi austryackiemu. W systemie jego oszczędności niepomierną gra rolę zgon wyższych urzędników wszelkiej kategoryi, nietylko bowiem zaoszczędza się przyszła emerytura, ale odnosi się bieżącą korzyść w odwlekaniu nominacyi ich następców. Przez śmierć Matejki zaoszczędził sobie już rząd około 3000 złr. Chociaż nominacya Rodakowskiego zdecydowana już była od trzech miesięcy, to jednak nie ogłoszono jéj, bo nie ma czego się spieszyć, a pensyi się nie wypłaca.

Śmierć Rodakowskiego odwlecze znowu obsadzenie stanowiska dyrektora, jeżeli nie na rok cały, to przynajmniej na pół roku — i znów p. minister skarbu zarobi parę tysięcy dla państwa austryackiego. Mniejsza byłoby o ten zarobek na wskroś niemoralny, gdyby nie łączył się on ze szkodą szkoły, a co za tem idzie i sztuki. Imię Matejki pomimo wszelkich nieporządków w szkole istniejących i szczupłości jej uposażenia, było bądź co bądź magnesem, który ściągał młodzież artystyczną do Krakowa. Szło wprawdzie coraz gorzej, ale szło. Obecnie każdy miesiąc przynosi nowe symptomy upadku szkoły, a jeżeli p. Madejski długo ociągać się będzie z nominacyą dyrektora, to ten nowy dyrektor może zastać gmach, ławki, sztalugi, odlewy i manekiny, ale nie zobaczy uczniów, a przynajmniej ujrzy ich tak mało, że będzie musiał na nowo tworzyć dopiero szkołę. Smutny ten stan powinniby wziąść do serca ludzie mający wpływ na p. ministra oświaty i przedstawić mu, że nie wypada, aby za rządów ministra-rodaka upadło to jedyne ognisko sztuki polskiej, tej sztuki, co w ostatnich czasach tak świetnie wystąpiła na artystycznej arenie europejskiej.

W ogóle koniec roku ubiegłego odznaczył się rozmaitemi upadkami i rozwiązaniami różnych instytucyi.

Musi widocznie upadać galicyjski „klub jazdy panów“ kiedy się zgłosił do naszej Rady miejskiej z prośbą o wyznaczenie na przyszłe wyścigi nagrody miasta Krakowa. Zdawałoby się, że jeżeli „panowie“ chcą się bawić w skakanie i łamanie karków na błoniach krakowskich, to koszta tej zabawki sami pokrywać powinni, zwłaszcza że i tak mieszkańcy Krakowa przyczyniają się się do pokrycia tych kosztów, kupując bilety wstępu na pańskie widowiska. Czy Rada uwzględni prośbę klubu, dowiemy się zapewne na jednem z bliższych posiedzeń. Zdaje się jednak, że ma zamiar traktować ją humorystycznie, czego dowodem, że odesłała podania klubu do sekcyi . . . . szkolnej. W sekcyi tej zasiadają dr. Asnyk, prof. Stan. Tarnowski, oraz inni radzcy, do których należy opieka nad szkołami krakowskiemi. Ciekawa rzecz, kto z tych radzców od głów ludzkich, będzie referentem w sprawie nóg końskich.

Upadła a raczej rozwiązaną została Czytelnia akademicka. Zdarza jej się to nie po raz pierwszy, co parę lat bowiem jest rozwiązywaną i na nowo jak feniks powstaje z popiołów. Tym razem winą jej było, że rozesłała w bardzo skromnych wyrazach zredagowane oświadczenie, iż według jej zdania w r. 1895 jako w roku żałoby narodowej powinna młodzież wstrzymać się od zabaw publicznych. Namiestnictwo twierdzi i to całkiem prawnie, że uchwałą tą przekroczyła Czytelnia zakres swojego statutu. Ale nie wszystko, co prawne, jest zarazem logiczne, a dawno już starożytni powiedzieli: *summum ius summa injuria* — i gdyby wszystkie drobne nieprawidłowości, dostrzeżone okiem władzy, były przez nią ścigane, to żadna instytucya utrzymać by się nie potrafiła, a połowa ludności zajętą byłaby ciągłem wyciąganiem pieniędzy z woreczka na opłacanie wszelkiego rodzaju grzywien. Nie ma zapewne ani jednego Towarzystwa resursowego w Galicyi, a Czytelnia przecież do takich Towarzystw należy, któreby się nie zastanawiało nad tem, czy wypada tańczyć w r. 1895 — trzebaby więc je wszystkie rozwiązać, bo każde przekroczyło zakres swych statutów. Gdyby uchwała Czytelni skierowaną była przeciw tańczącym, gdyby wskutek niej wyniknąć mogły jakie nieporządki, gdyby wreszcie wyrażoną była w słowach nieumiarkowanych i drażniących, to rozwiązanie jej mogłoby logicznie być usprawiedliwione. Ale tego wszystkiego nie było, a więc postanowienie władzy uważać należy za zbytek gorliwości, za prostą przyczepkę. Dziwna rzecz, jak po tylu smutnych naukach nie możemy nigdy zdobyć się na umiejętne postępowanie z młodzieżą. Zdaje nam się, że ciągłemi zakazami, ciągłem wzywaniem na pomoc policyi wykorzenimy w niej resztki zapału, a tymczasem postępowaniem tem tylko ją drażnimy, sami wywołujemy niezadowolenie i opozycyę. Jeżeli u kogo to u dzisiejszej młodzieży nie potrzebujemy się obawiać gwałtownych wybuchów patryotyzmu. Młodzież przepędzająca wieczór 29go Listopada w cyrku, jak to świeżo miało miejsce w Krakowie, jest już tak grzeczna, tak lojalna, że doprawdy tylko cieszyć się należało, iż skromnem oświadcze-

niem o zabawach dała poznać, iż na dnie jej duszy są jeszcze jakieś iskry nie całkiem zagasłe.

K. Bartoszewicz.

Listy z Niemiec.

Berlin, w grudniu.

(Rozprawa w Fuchsmuehl. — Kulturtraeger w Afryce.)

W Bawaryi jest wioska, której nazwisko — Fuchsmuehl — obiega już od kilkunastu dni prasę niemiecką i inną. Kilkadziesiąt chałup i las okoliczny, zwykłe tło obrazu wiejskiego, podniesiono do wysokości prawdziwie historycznej, a przeszło tysiąc ludności — dotychczas nieznanej, niedostrzeżonej przez reporterów, wyszrubowano do godności prawdziwych aktorów dramatu.

Gmina Fuchsmuehlu posiadała odwieczny serwitut w poblizkim lesie, obecnie należącym do barona von Zollera. Były to nędzne szczątki dawnych dóbr, w znacznej części podstępnie wydartych ludności rolnej. „Historyczny rozwój“ przekazał dawne serwituty leśne samowoli jednostek: rycerzom, kościołom i klasztorom, wreszcie państwu, które w tych razach zwykle występowało jako jednostka. Z dawnych własności pozostawały z czasem tylko strzępy: serwituty pastwiskowe, leśne; prawa wybierania drzewa, grzybów itd. I te jednak nie ostały się wszędzie przed wszystko pochłaniającą chciwością możnowładzców. Tylko gdzieniegdzie — wśród tegoczesnej fali rozwoju — napotkać można owe żywe wspomnienia przeszłości i bezprawia; gdzieniegdzie, to znaczy i w Fuchsmuehlu. Już od lat trzydziestu toczył się spór gminy z baronem o jej prawo leśne. Sądy niegdyś rozstrzygnęły ten spór na korzyść gminy i do r. 1892 ludność bez żadnych przeszkód zaopatrywała się w drzewo na zimę. Pewnego dnia przyszło baronowi na myśl odkupić prawo ludności za sumę ryczałtową 90 tysięcy marek, co stanowi zaledwie połowę istotnej wartości. Chłopi nie przyjęli propozycyi — i tutaj rozpoczyna się właściwa wojna. Baron zamknął las, wyciął drzewa na sumę 300 tysięcy marek — i wytoczył proces przeciwko „upartemu, głupiemu Michałkowi“ (der dumme Michel — tytuł chłopa niemieckiego). W pierwszej instancyi wygrał, ale Izba apelacyjna w Norymberdze osądziła rzecz na korzyść włościan i uznała ich prawo za niewzruszone. Zoller odwołał się do sądu kasacyjnego. Dodać musimy, że pan baron jest sam członkiem sądu krajowego w Monachium, a jednoczesnie bratem wszechmożnego w Bawaryi szefa tajnej kancelaryi regenta bawarskiego i... najwyższy sąd zgodził się na żądania możnego ziemianina. Oburzenie wśród chłopów przybrało wielkie rozmiary. Już poprzednio zwracali się oni kilkakrotnie do leśniczych o pozwolenie zabrania drzewa na zimę, gdy to jednak nie pomogło, pewni swego prawa, postanowili działać bez pozwolenia. Pamiętali, że przed kilkunastu laty był u nich taki sam wypadek, że wtedy sąd uznał, iż postępowanie ich na karę nie zasługuje. Z burmistrzem na czele udali się w liczbie 300 ludzi do lasu. Prośby i groźby administracyi leśnej nie wypłoszyły ich ztąd, odwołano się do pomocy wojska. Pięćdziesięciu sprowadzonych żołnierzy zwróciło się do chłopów z żądaniem ustąpienia z placu; ci nie zrozumieli nawet języka urzędowego i oczywiście nic nie odpowiedzieli; wtedy po upływie sześciu minut (czas urzędownie stwierdzony), wojsko rzuciło się na bezbronnych: dwuch starców zostało na polu „bitwy“, 30 osób ranionych, między niemi brzemienna kobieta; jeden włościanin otrzymał cztery ciosy w głowę, drugi 17 ukłuć bagnetowych itd. Wszystkie rany były zadane w plecy, znęcano się nad uciekającymi. Po takiem bohaterstwie przyjmowano „chwałą okrytych żołnierzy“ na zamku; główny leśnik oświadczył, że zbieraniu drzewa nie stoi nic na przeszkodzie itd. Na miejscu, rzecz jasna, zapanowała cisza. Ale inaczej w prasie! Wszystkie pisma niemieckie bez różnicy barwy i wyznania zawrzały oburzeniem i grozą na haniebny postępek i samowolę barona. Organy zachowawcze, pół i całkowicie urzędowe, uderzyły na alarm: być może w żadnym czasie wrzawa ta nie byłaby tak silną, jak w obecnym. Caprivi padł, a wraz z nim kilku ministrów, podciętych mściwą kosą rolników nadłabskich. Pisma, a za niemi i całe Prusy, żyły przez kilkanaście dni w ciągłym niepokoju. Prasa więc, nawet konserwatywna (ale nie ziemiańska) pytała, czy to właściwie przeciwko junkrom nie należy stosować praw wyjątkowych, z powodu których musiał kapitulować Caprivi. Oni bowiem stoją na czele żywiołów przewrotu: „nietylko „z góry“ — gdzie łamią ministrów, ale i „z dołu“ — gdzie, jak w Fuchsmuehlu, prowadzą najwyraźniejszą agitacyą wśród chłopów na rzecz demokracyi społecznej...“ Zdaje się, że i sejm bawarski skosztuje tego cuchnącego pasztetu chciwości i bezprawia.

Przyjrzyjmy się obecnie drugiej perełce, którą spieszę nawiązać na mój sznur sprawozdawczy. Mamy na myśli osławioną sprawę dahomejsko-niewieścią kanclerza Leista. Jeżeli mówimy tutaj o owym „bohaterze“, to czynimy to nie dla tego tylko, że wyższa instancya podda rewizyi wyrok sędziów poczdamskich, że zajmować się nią będzie na sesyi najbliższej parlament i że jedno z pism tutejszych ofiarowało kanclerza Leista na miejsce opróżnione przez Capriviego, uznając go zupełnie odpowiednim na to stanowisko — ale dla tego przedewszystkiem, że dzięki tej sprawie posiedliśmy dwa niezmiernie ważne dokumenty. Jestto na pierwszym planie sam wyrok sądu.

Wiadomo, że działacza powyższego sądzono za dwa przestępstwa: 1) że 15 grudnia 1893 roku brutalnie ukarał żony żołnierzy dahomejskich i wywołał powstanie tych ostatnich i 2) że dopuścił się w drugiej połowie 1893go r. zbrodni gwałtu na wielu kobietach, zamkniętych w więzieniu kameruńskiem. Sąd poczdamski uznał winę przestępcy tylko w drugim wypadku i skazał go na zmniejszenie pensyi o jedną piątą. Tę stronę sprawy pozostawić należy wyższej instancyi sądu, a my przyjrzyjmy się niektórym ustępom wyroku. Oto co np. czytamy o stanowisku prawnem żołnierzy dahomejskich. „Pierwotnie byli oni niewolnikami, których zdobył w swych pochodach Behazin, a zmarły pułkownik Gravenreuth wykupił w r. 1891ym i zamierzał użyć ich do ekspedycyi w głąb Kamerunu. Ci wyzwoleni w liczbie 300 z żonami zawarli ze swym „wybawcą“ umowę, na mocy której zobowiązali się służyć przez lat pięć w Kamerunie do wszelkiej pracy za wikt i ubranie; przytem dodano sumę wykupną 320 marek za mężczyznę i 280 za kobietę, jako z góry uiszczoną płacę roboczą za pięciolecie. Połowa z nich prędko wymarła z wycieńczenia, kilkudziesięciu zabrano do szeregów policyi kameruńskiej, przyczem nie płacono im nic, podczas gdy inni żołnierze otrzymywali 30 marek żołdu miesięcznego“. Trzydzieści marek miesięcznie stanowi za pięciolecie 1,800; tymczasem dahomejczykom liczono za nie tylko 320! Tak wygląda między innymi praktyczny chrześcijanin pruski pod niebem afrykańskiem. Dalej wyrok mówi: „Ażeby zmniejszyć różnicę w żołdzie i uczynić ją mniej dotkliwą, żołnierze dahomejscy otrzymali od rządu kobiety dahomejskie w dużej ilości, których żywieniem zajmowała się władza. Korzyści, jakie ztąd ciągnęli były tego rodzaju, że przedewszystkiem nie potrzebowali ponosić zwykłych wydatków na kobiety (zkąd mieli brać środki na to?!), ale wedle zwyczajów tubylczych mogli zdobywać niewielkie zarobki, ofiarując swoje żony bezżennym żołnierzom“. Podobną „ofiarność“ karze niemiecki kodeks karny ciężkiem więzieniem.

Tak wygląda pierwszy dokument, z którego wniosek wyprowadzić należy ten chyba, że wraz z kanclerzem Leistem na ławie oskarżonych zasiąść musi cały zarząd kolonialny. Ale pan Leist pozwolił się interwiewować reporterowi pewnego dziennika lipskiego. Przy tej sposobności usłyszeliśmy zabawne rzeczy. I to jest nasz drugi dokument: Pan Leist twierdzi, że klimat kameruński oddziaływa tak fatalnie na nerwy, że wobec tego poczytalność i odpowiedzialność zmniejsza się znacznie. „Oficer pruski, chory na febrę, kazał się nosić w hamaku i strzelał z rewolweru do dzikich. Nie ukarano go, co najwyżej odwołano, gdyż był chory. Dziwna rzecz, że znęcają się obecnie nademną za mój domniemany „szał erotyczny“. Każdy przedemną postępował tak samo, wszak mamy między dahomejkami t. z. „niemki“ a nawet „żonę“ nieboszczyka Gravenreuth'a. Postępowanie moje nie czyniło żadnego wrażenia na miejscu: misyonarze bywali u mnie wraz z rodzinami i siostry miłosierdzia (Diakonissinnen) nie uważały towarzystwa mego za ubliżające dla siebie. W pobliskiej kolonji francuzkiej dzieją się rzeczy stokrotnie gorsze, a kiedy misyonarz pewnej niedzieli wspomniał w kazaniu o niecnem postępowaniu oficerów — ci wyszli z kościoła i... misyonarz musiał wrócić do Francyi. Całe niezadowolenie dzisiejsze powstało z agitacyi syna króla Bella-Alfreda Bella. Ten od czasu, jak wrócił z Niemiec, jest skończonym socyalistą i nie opuszcza najmniejszej sposobności rozbudzania niezadowolenia śród swych czarnych pobratymców. On to pisał na mnie skargi w sprawach kobiet dahomejskich, on przekonywał żołnierzy, że należy im się większa płaca...“ Tak brzmi obrona kanclerza Leista, która chyba nie potrzebuje omówień...

Zen. For

Wolne głosy.

Na rocznicę.

Od czasu, kiedy z karty Europy zniknęły geograficzne Polski granice, kiedy nas ościenne między sobą rozdzieliły narody — prawi, a miłujący kraj swój wraz z całą jego przeszłością Polacy, objawiali nieprzerwaną łączność tejże ukochanej dziejów przeszłości z dopełnionym co dopiero całym wiekiem niewoli, — łączność silną a nierozerwalną — pieczętowali ją ofiarami z krwi i mienia — dokumentowali po tyle razy, ilekroć wspomnienie wypadków historycznych nakazywało im święcić rocznice dziejowe.

Jubileusz wiekopomnej dla oręża polskiego Odsieczy Wiedeńskiej, oraz święc na co dopiero mniej radosna, lecz stokroć sercu każdego syna Ojczyzny droższa i świętsza pamiątka pierwszego Powstania Narodowego, oto ostatnie święta rozgraniczonego, a jednak zespolonego narodu.

Dzisiaj niestety rozpamiętywać nam przychodzi najsmutniejszą ze smutnych rocznic całej Ojczyzny żywota — rozpoczynamy rok setny ciężkiego, do nowego samodzielnego życia wiodącego boju, rok setny twardej szkoły nieszczęścia i dopustów Bożych, jakich kresu jednak Opatrzność zaznaczyć nam nie omieszka. Na wspomnienie dziewięćdziesiątego piątego roku każde serce bólem się ściska, głowa chyli w skrusze upokorzenia i żalu — lecz usta szepcą żarliwe słowa ufności promiennej, ramiona do wytrwalszej jeszcze wyciągają się pracy.

To też ku okazaniu naszych uczuć na znak widomy tej uroczystej rocznicy, postanawiamy wstrzymać się w ciągu całego roku tego od wszelkich publicznych zabaw hucznych i wesołych — a zgromadzać się bądź w teatrze bądź na salach odczytowych, aby podnosić się na duchu wzajemnie i zagrzewać do dalszej pracy nad dobrem Ojczyzny. Nadto pragniemy ku uwiecznieniu tejże rocznicy stworzyć inny jeszcze widomy znak żywotności naszej, bądź to poparciem dotychczasowego obywatelskiego działania, bądź stworzeniem nowego narodowego dzieła i w tym celu prosimy wszystkie Polki dzielnicy naszej, aby myśl naszą poprzeć i nad dalszem jej przeprowadzeniem pracować zechciały. —

Ufamy mocno, że i najmłodsze z pośród nas

nie zapomną o tem, że odrębnym przywilejem każdej Polki jest i zostanie na zawsze świeżość uczuć, śmiały polot ducha i gorąca cześć dla niezmiennych a najświętszych ideałów naszych.

W rocznicę podpisania rozbiorowego traktatu przez Rosyą i Austryą.

Grono Wielkopolanek.

NA WYŁOMIE.

(*„Nasze Rady“ i „Nasze prośby“. Z kosza dziennikarskiego. Straż pożarna. Akcya kobiet wielkopolskich.*)

Pojawiają się niekiedy w „Dzienniku Poznańskim“ na pierwszej stronnicy artykuły, dotyczące palących kwestyi domowych. Treścią swoją i lokacyą na honorowych miejscach politycznego organu zdają się one upraszać czytającą publiczność o wyjątkowy szacunek, napełniając ją nadzieją, że tu właśnie odkryje najcenniejszy towar dziennikarskiego magazynu, najszlachetniejszy i najwytworniejszy owoc redakcyjnego rozumu i artyzmu. A jednak, podobnie jak u stołu biesiadnego na pierwszych miejscach nie zawsze zasiadają najwybitniejsze umysły i talenta z grona uczestników, lecz często prezydyalne krzesło tylko najstarszy wiekiem otrzymuje, tak i tu nikt z czytelników łudzić się nie powinien, że w artykule wysuniętym na honorowe stanowisko znajdzie najdoskonalszy wytwór publicystycznych zdolności — najczystszy szampan z redakcyjnej winnicy. Marka zewnętrzna — Veuve Cliquot na etykiecie, — to złudna dekoracya. Skosztuj napoju, a znajdziesz niekiedy, zamiast perełkowych wyrobów szampańskich, słodkawą wodę z musującym proszkiem.

W kałamarzu feljetonowym nagromadziło się, jak widzę, mnóstwo porównań i analogii, ale mam bezustanne uczucie, że głos ich bezdźwięczny nie określa dokładnie przedmiotu krytyki mojej. Ot n. p. szampan i woda sodowa! Nie myśl czytelniku, że stosunek tych płynów odpowiada wszechstronnie proporcyi prawdziwie literackich artykułów nad linią a wzmiankowanych wyrobów „Dziennika“ pod linią. Gdyby te wszystkie „Rady“ i „Prośby“ zawarte w Nr. 3 najpoważniejszego organu prowincyi naszej, były przynajmniej wodą musującą, nie kusiłbym się zaiste o analizę takiej dość zwyczajnej tandety dziennikarskiej, ale artykuły te są istotnie pod względem stylu, układu i argumentacyi czemś tak niezwykłem w dziejach prasy poznańskiej i taką sygnaturą umysłowej bezsiły, że mimowoli dręczy mnie pytanie, czy ktoś dla zniesławienia „europejskiego“ dziennika nie podrobił kilku numerów i, ustroiwszy je w podarte buty i fałszywe ordery, nie nadesłał wspaniałomyślnie redakcyi „Przeglądu“. „Biegnij famulusie! Kupuj inny numer!“ Chłopak idzie i wraca — mistyfikacya okazuje się fałszywem przeczuciem. Rzecz dziwna istotnie! Ten sam organ, który z miną profesorską strofuje antisemicki „*Postep*“ o dziennikarską impotencyą, zamieszcza na zaszczytnem miejscu takie dziwolągi stylowe, jakich w żadnem z poznańskich czasopism nie znalazłem nigdy. Być może, że artykuły „Kuryera“ lub „Orędownika“ raziły mnie niekiedy więcej tendencyą swoją i treścią, ale bądź co bądź forma tych fabrykatów zaleca się zawsze literacką rutyną i nie grzeszy potworną budową oraz banalną argumentacyą „Naszych rad“ i „Naszych próśb“. Artykuliki te odbijają zresztą od innych towarów „Dziennikowego“ magazynu w sposób tak rażący, że trudno zaiste pojąć, dla czego redakcya w oknie wystawnem prezentuje utwory najsłabszych pracowników swoich, lubo na składzie ma cenniejsze produkta. Przypominam sobie, że niegdyś „Prawda“ warszawska, cytując próby stylowe tych wiekopomnych eloboratów, roześmiała się na całe gardło i gwizdnęła tak przeraźliwie nad uchem prasie poznańskiej, że jeszcze dzisiaj słyszę ten zgrzyt nieprzyjemny, a lokalny mój patryotyzm wije się w kurczach płaczących. Nie chciałbym powtórnie usłyszeć kociej muzyki na cześć „literatury poznańskiej“ i dla tego na progu noworocznym wyśpiewuję redakcyi „Dziennika“ taką „Radę“ i taką „Prośbę“:

Mężu wiedzy i nauki!
Racz zlitować się nad nami,
I gruchocąc pióro w sztuki,
Pisz twój Dziennik — nożycami.

Miałbym wielką ochotę ten sam wierszyk zadeklamować rozmaitym „wieszczom“ i „Tytanom“, których rozbrykany Pegaz wiedzie w gościnę do redakcyi „Przeglądu Poznańskiego“. Miły Boże! Ileż tam serc rozdartych, ile różanych esencyi, ile przekleństw, żmij, piorunów i innych straszydeł. A jak to wszystko kwili, płacze, grzmi, huczy i wyje! Brrr! strach mnie przejmuje. Posłuchajcie tylko:

„Wy mnie chcecie zmiażdżyć, zniszczyć,
A czy wiecie... ktom ja taki?!
Czy wy wiecie kogo śmiercią
Tak swobodnie karać chcecie?!
Jam poeta!! dusz właściciel!!
I to mnie wy karać chcecie?!
Cha, cha, cha, cha!
Czyż nie wiecie, że miliony
Za mną staną, bronić będą!
Czyż nie wiecie, że szatani,
Święci, duchy i anioły,
Wszyscy za mną w bój polecą!!
Nie zbliżajcie się, bo zgniotę,
Bo rozszarpię na sto części
I rozniosę po przestworzu!

Jezus! Marya! ratujcie! Cóż to za straszny olbrzym! Ten bój apokaliptyczny tak mnie przeraził, że utwór poetycznego Tytana schowałem co tchu w koszu dziennikarskim. *Requiescat in pace*! Ale nie dość tej męczarni. Litościwe nieba na cięższą jeszcze wystawiły mnie próbę. Listowy przynosi mi wonny liścik, z daleka już czuć go opoponaksem, — otwieram i czytam:

„Czemuż ty o wierzbo płacząca
Jesteś taka milcząca?
Czemuż listek twój nie kwili
Nad tą, którą ludzie zdradzili,
I która w swoim łonie
Żarem miłości płonie,
A ugasić nie ma komu
Ani w świecie, ani w domu!“

Biedactwo! Hej! panowie! zlitujcie się nad tym żarem miłości i — gaście, bo spłonąć gotowa nieboga. Straży pożarnej zresztą nagromadziło się tyle na poznańskim bruku, że chyba gasiciel znajdzie się niebawem. Dowiaduję się nawet, że od pierwszego marca „*Dzien. Pozn.*“ i „*Kuryer*“ zakładają fabrykę sikawek, a prospekty wyrobów swoich rozesłały w noworocznych numerach. Snać nie spodobało się tym panom, że serca pań wielkopolskich nutą serdecznego żalu i wielkiej miłości witały rok nowy, rok narodowej żałoby, — więc dla stłumienia niebezpiecznego pożaru, wylały już w miesiącu grudniu kilka konwi roztopionego śniegu o kolorze brudnym i woni nieprzyjemnej na goretsze dusze, a w dzień Nowego Roku głuchem milczeniem ogłosiły smutną rocznicę stuletniej niewoli. Zapomnij narodzie, że wiek cały męczarni przetrwałeś! Zapomnij narodzie, że i tobie niegdyś świeciła zorza wolności. Zapomnij i trzaskaj hołubce.

„*Roma locuta*“! — być może, ale „*causa finita*“ nie śpiewajcie jeszcze. Idzie prąd nowy i potężny przez polskie ziemie, prąd ten porywa coraz szersze tłumy i wybije godzina, w której samotni osiądziecie na sikawkach waszych. W boju z gasicielami ducha my zdobyliśmy sprzymierzeńców bohaterskich, sprzymierzeńców takich, przed którymi nawet zadrżał kanclerz żelazny: *Kobiety*. Rzucone kości! My w przyszłość spoglądamy spokojnie.

Sulla.

ECHA POZNAŃSKIE.

(*Polemika. Wystawa obrazów. Podsłuchana rozmowa. Artysta i krytyka.*)

— Nie wierzcie mu panowie, bo to jest rycerz z pod ciemnej gwiazdy, ja zaś jestem człowiekiem uczciwym i piszę prześliczne rzeczy.

— Fałsz wierutny, kochani panowie, jest to osobnik o zgrzybiałej głupocie, nurzający się w kale niegodziwości.

— Widzicie, że miałem słuszność, utrzymując, że to opryszek, to też z serca mu życzę, aby zmarniał.

— A co?... czy nie miałem racyi? nareszcie wszyscy się przekonali, że to dezerter z Kowanówka, który widocznie pod wpływem aberecyi umysłowej, rzuca się na nas jak pies na łańcuchu. Mimo to my zawsze będziemy mieli więcej zwolenników, bo mamy rozum i serce.

Rany boskie — co to jest? To nic! to polemika, wymiana przekonań dwóch naszych organów politycznych, dwóch świeczników narodu. Tylko nie podałem jej wyczerpująco, bo nie chcę być... nieprzyzwoitym.

Powiadają Francuzi: „c'est le ton qui fait la chanson“, ja jednak dalibóg nie wiem, jakim tonem powiedzieć do kogoś: „Na szubienicę durniu!“ ażeby mu osłodzić pigułkę.

Jeżeli ktoś gwałtownie czuje potrzebę wylania swojego gniewu lub oburzenia, a wrodzona krewkość zmusza go aż do użycia podobnych epitetów, czy nie lepiej byłoby zrobić sobie tę przyjemność prywatnie, a nie umieszczać podobnych polemik w łamach pisma, boć przecie ozdobą one [illegible], a ku budowie serca i ducha także nie s[illegible]. A propos serca i ducha, wystawę obrazów w gmachu Teatru poznańskiego otworzono. Naturalnie, że pospieszyłem, aby ocenić należycie rozwój sztuki naszej, a przyznać muszę, że nikt mi nie przeszkadzał i byłem sam jeden, dzięki czemu mogłem się napatrzeć do syta studyom kobiety p. Bakałowicza, nie rumieniąc się wcale. Z początku było mi trochę smutno, gdym zobaczył, że cała wystawa mieści się w jednym saloniku, — no! ale ponieważ widocznie tylko dla mnie ją otworzono, muszę obniżyć wymagania moje. Zwykle będąc na wystawie sztuk pięknych, grzeszę niedyskrecyą i bez ceremonii podsłuchuję rozmowy, układając sobie tym sposobem bardzo wygodnie krytykę. Tym razem wyjątkowo ołówek i notes na nic mi się nie zdały, ale mimo to w celu przekonania czytelników, jak nieraz ocena zwiedzających jest trafną, podaję dysputę, która miała miejsce w Warszawie przed obrazem impresyonisty.

„Co za widok ponury?
Toż rzeczy niepojęte,
Krwi posoką wydęte
Płyną i płyną chmury.
„Cóż to? czy pan zwaryował,
Lub za piecem się chował,
Że się bredni nie wstydzisz?
Gdzież to chmury pan widzisz?
Przecież to okręt płynie.
O! tam majtek na linie,
A tam słońce zachodzi,
Rozumiesz pan Dobrodziej?
„Patrz pan! a to paradne!
A ja bym przysiągł przecie,
No! widzisz panie bracie....
„Obadwaj się nie znacie,
Obadwaj nic nie wiecie,
Więc ja wam wytłomaczę;
Tu matka przed kominkiem
Bawi się z swoim synkiem,
Syn swawoli i skacze.
„A niechże was profany!
Przecież to zboża łany,
A tam, widzicie, w dali
Las niebieski się pali.
Ja się z wami założę,
Niech pan Michał rozsądzi-
„Hm, hm, żaden nie błądzi,
Daję słowo honoru,
Co kto chce, ten mieć może,
Tu wszystko do wyboru.

Na szczęście na naszej wystawie w Poznaniu niema ani jednego obrazu impresyonistycznego i publiczność potrzebuje tylko spojrzeć na

kartkę u dołu, ażeby wiedzieć, co obraz przedstawia. — Nie starajcie się znaleźć w moich słowach ironii. Ja patrząc raz na wystawie warszawskiej na krajobraz, byłem pewny, że widzę „Lato“, — tymczasem później przekonałem się, że to była „pierwsza miłość“ czy też coś w tym rodzaju.

Posłuchajcie!

Zwiedzając pracownię jednego z pierwszych naszych pejzażystów, zachwycałem się górskim widokiem. Snop światła słonecznego z taką rzucony był prawdą, że omal nie włożyłem kapelusza, aby sobie głowy nie przepalić. Gdym z tego powodu wynurzał mój zachwyt malarzowi, odpowiedział mi;

— Rzeczywiście zdaje mi się, że jest w tonie właściwym, ale zobaczysz pan, o ile jaśniejszym będzie, jeżeli tu postawię chłopa lub dziewczynę!

W kilka miesięcy potem, obraz ten wystawiony budził ogólne zainteresowanie. Dziewczyna, którą domalował artysta spotęgowała jeszcze bardziej siłę światła. Zdziwiłem się jednak nie mało, wyczytawszy w jednem z pism następujący artykuł:

„Obraz pana X. musiał pozyskać uznanie. Ileż mieści się tęsknoty w obliczu tej młodej dziewczyny, która widocznie trawi dni w niepokoju za swoim kochankiem, ileż miłości w tych oczach dużych, zapatrzonych w niezmierną dal, ile słodyczy w tych ustach...“ i t. d.

A o słońcu? O blasku? O powietrzu? Ani słówka.

W innej gazecie czytałem:

„Artysta przedstawił nam młode dziewczę, oczekujące swojego kochanka; przyjdzie on tu za chwilę, widać to po wyrazie twarzy na pół smętnej i na wpół radosnej.“

Tymczasem artysta zupełnie nie miał zamiaru poić tęsknotą biednej dziewczyny i rozłączać jej z kochankium, a postawił ją li tylko dla wywołania efektu światła.

Nie ładnie to z jego strony, prawda, ale w każdym razie ubawiłem się dobrze. Oj! krytycy, krytycy!

Ortok.

KRONIKA LITERACKA.

Biblioteka Warszawska, Grudzień 1894. P. Henryk Struve, wierny swej realistyczno-idealistycznej filozofii w artykule p. t. „Ideały umysłu ludzkiego i ich przedmiotowe uzasadnienie“ kruszy kopię w obronie prawa celowości w przyrodzie.

Kronika galicyjska p. U. wciąż jeszcze poświęcona jest wystawie, tym razem omawia usiłowania podejmowane w celu rozwoju przemysłu przez naukę fachową.

P. Darowski kończy w grudniowym zeszycie „Biblioteki“ swój szkic z dziejów stosunków polsko-moskiewskich w XVII. w. p. t. „Zatargi o starostów pogranicznych.“

P. J. M. w artykule „Kierunek historyczny w ekonomice niemieckiej“ daje streszczenie najnowszych studyów Karola Buchera z dziedziny historyi instytucyi ekonomicznych, a głównie wydanej w roku ubiegłym pracy o powstaniu gospodarstwa społecznego. (Die Entstehung der Volkswirtschaft).

Artykuł p. Hösicka opisuje lata dziecinne Słowackiego (1814—1817). Z beletrystyki znajdujemy w omawianym zeszycie nowelkę M. Radziwiłła p. t. „W jednej izbie“, z poezyi dalszy ciąg z cyklu „Italia“. — M. Konopnickiej.

* * *

„**Ateneum**“ — **Grudzień** 1894. P. Wojnarowska podaje wizerunek literacki nowego akademika francuzkiego F. Brunetière, znanego krytyka i profesora.

W artykule p. Smarzewskiego znajdujemy dość pobieżny opis „Wystawy lwowskiej.“

Zgasłemu niedawno historykowi angielskiemu J. A Froude'owi poświęca swój artykuł p. Trepka, stale zaznajamiający czytelników „Ateneum“ z literackiem i społecznem życiem Anglii

P. Krzywicki wciąż jeszcze czerpiąc materyał ze swej podróży po stanach zjednoczonych Ameryki północnej, daje tym razem opis uniwersytetu w Chautauqua.

Z innych artykułów wymienić należy dokończenie studyum p. Hosicka p. t. „W Szwajcaryi, okres genewski w życiu J. Słowackiego“ oraz „Biopsychika i Socjologia“ przez B. L. W dziale belestryki znajdujemy nowelę Derwida „Sybarytka“, z poezyi piękne przekłady z Shelley'a przez Nawrockiego.

W dziale sprawozdawczym zanotować należy recenzyą o pracy Dr. Biegańskiego p. t. „Logika medycyny, czyli zasady ogólnej metodologii nauk lekarskich.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne Dzienniki francuzkie zapisują nowy skandal w obszernej księdze „Panamina“. W najświeższym czasie odkryto bowiem olbrzymie malwersacye w zarządzie południowej kolei. W sprawę tę zawikłane są podobno wybitne osobistości z świata urzędowego. — Zarząd Centralnego towarzystwa gospodarczego rozpatrywać będzie na najbliższym swym posiedzeniu projekt radzcy Sobeskiego z Friedeberga, w sprawie tworzenia Spółek drenarskich w W. Księztwie Poznańskiem. — Rozchodzi się pogłoska, że wkrótce ustąpi rosyjski minister wojny Wannowski. Jako następcę jego wymieniają jenerała Obruczewa. — Wiadomość o wizycie ks. Hohenlohego u ks. Bismarka okazała się mylną. — W Toruniu założono Towarzystwo wzajemnej pomocy robotników i rzemieślników katolickich. — Pogłoska o spodziewanem ustąpieniu ks. Hohenlohego z urzędu kanclerza rzeszy utrzymuje się w prasie niemieckiej. Jako następcę wymieniają jednomyślnie br. Filipa Eulenburga. Walne zebranie Ziemstwa poznańskiego odbędzie się 22go bm. w Poznaniu.

Zjazdy i kongresy. Dnia 10 stycznia rb. odbędzie się w Śremie sejmik powiatowy.

Teatr i muzyka. W czwartek wznowiono w teatrze naszym na benefis p. Wróblewskiej dramat Olmeta p. t. „Hrabina Sara“ Beneficyantka zyskała sobie powszechne uznanie subtelną interpretacyą odtworzonej postaci i grą pełną siły dramatycznej. Panna Zimajer w roli Bianki de Cygne miała kilka nader szczęśliwych momentów, ale we wielkiej sceme aktu czwartego uderzał brak nerwu dramatycznego. Pani Jakubowska w roli Magdaleny rozwinęła wiele wdzięku i i sympatycznej filuteryi. Z wykonawców ról mezkich zasługuje na szczególne uznanie p. Sosnowski, a sekundowali mu bez zarzutu panowie Skirmunt, Trapszo i Knapczyński. — Krotochwila p t. „Małżeństwo na probę“ ściąga do teatru lwowskiego tłumy publiczności. Teatr ten wprowadził również na deski swoje orginalny utwór ks. Adama Czartoryskiego p. t. „Kawa“ i „Bakarat“ Leona Madeyskiego. — Najnowszy utwór Sudermana p. t. „Walka motyli“ odegrano w czwartek w warszawskim teatrze Rozmaitości. — Repertuar operetek niemieckich powiększył „Próbny pocałunek“ Millöckera, grany z powodzeniem we Wiedniu.

Zakopane. (Od nasz. kor.) Od czterech tygodni płyniemy w pełnym zimowym sezonie. Góry i regle, dolina cała i szczyty, wszystko pokryte olbrzymią warstwą śniegu. Mróz dochodzi 8 stop. R. i dookoła rozlega się tylko odgłos dzwonków góralskich sanek. Cała przyroda tutejsza przybrała jakąś odświętną postać, jasność, i pogoda panują nieprzerwanie, ztąd też cała liczna zimowo kolonia tutejsza korzysta w pełni z cudów natury zimowej i przepysznych widoków tak odmiennych i oryginalnych od tych, jakich Zakopane w letniej dostarcza porze. Goście ruszają się żwawo, urządzając wycieczki na saneczkach do doliny Kościelisk, na Gubałówkę i Głodówkę, nie mówiąc już o Morskiem Oku. Tatry skrzą się w grze barw i świateł, a powietrze mimo mrozu takie miłe, wonne, że się je z lubością wciąga w płuca. W zakładzie dra Chramca wre życie i, jakby letnią porą, odbywają się reuniony i wieczorki.

W poznańskim teatrze polskim otwarto wystawę obrazów. Wystawie tej poświęcimy niebawem obszerny artykuł.

Noworoczny numer krakowskiego dwutygodnika „**Świat**“ zawiera, oprócz bogatego materyału literackiego, artystyczne reprodukcye obrazów Kotowicza, Janowskiego, Styki, Brandta, Kochanowskiego i Brylla.

P. Leopold Meyet wynalazł w papierach i dokumentach po ś. p. Juljuszu Słowackim sztambuch matki poety, Salomei. Ciekawy zeszyt ten obejmuje liczne zapiski, notaty i urywki, tu i owdzie rzucające światło na stosunki domowe rodziny Słowackich i kult poezyi wśród jej członków. Sztambuch powyższy opatrzony wyczerpującym komentarzem p Meyeta, zamieści „Ateneum“ w jednym z najbliższych numerów.

Berliński „Schauspielhaus“ zakwalifikował do wystawienia sztukę historyczną Ernesta Wicherta p. t. „Im Dienste der Pflicht“. Bohaterem jest żołnierz z czasów Fryderyka I-go. Wiadomo, że sztuka, w której przedstawieni są członkowie domu panującego, nie może być wystawioną bez specyalnego zezwolenia cesarskiego, które jednak nowy utwór Wicherta już uzyskał.

Czasopismo polskie zaczęło wychodzić dwa razy tygodniowo w Bukareszcie p. t. „Wiarus“, organ poświęcony sprawom polskim. Właścicielem i redaktorem jest Ferd. M. Twornikiewicz, utrzymujący także biuro komisowe wyrobów z ziem polskich.

„**Kraj**“ petersburski zamieszcza w rubrycę „Półsłówek“ następujący wiersz sarkastyczny:

Ile i jakich myśmy
Wylali żalu łez,
Kiedy Matejki życiu
Śmierć położyła kres....

Zaledwie rok upłynął
Ot, niby z bicza strzel,
Rok jeden krótki — ale
Die Todten reiten schnell..

W rocznicę nabożeństwo
Odprawia Kraków nasz,
I na nie idzie osób
Aż ośmnaście, aż!..
Gdzież wielka ta żałoba,
Te kiry i ta biel,
Pleśnicją dziś już w kruchcie,
Bo... Todten reiten schnell:..

Ha!... trudno, gdy pamiętać
Tłum nie chce, choćby mógł,
Dla niego widać wszystkiem
Jest tylko krzyk i huk...
A jeśli kto zapyta,
Gdzie pamięć, godność, cel...
Z sarkazmem ci odpowie:
— Die Todten reiten schnell!...

Z teki aforyzmów
Jerzego Płońskiego.

Życie jest ścieżką przez czyściec wiodącą do wielkiego znaku zapytania.

—

Zło ma do [illegible] ie, że wyrzucone gwałtem za drzwi, wybija szybę [illegible] włazi oknem. Wtenczas dopiero jest istotnem zł[illegible]

—

Cnota jest jednem z tych pięknych słów, które, rozrobione na mąkę, wydają chleb dla patentowanych moralistów.

—

Rzeczywistość jest zerem, przed którem dusza każdego stawia własne cyfry. Świat istnieje o tyle, o ile gó widzimy, jest takim jak go widzimy i sięga tak daleko jak widzimy.

—

Kobiety potrzebują tylko porcyi mezkiego serca, podanego na porcelanie z „sauce piquante“ lub pozorów uczucia. Pozory starczą nawet na całe życie, bo ludzie, a zwłaszcza kobiety żyją tylko pozorami serca i charakteru.

—

Zmarli:

Henryk Rodakowski, słynny artysta-malarz, zm. w Krakowie, w ostatnich dniach grudnia. (Bliższe wiadomości znajdą czytelnicy w kronice krakowskiej).

Dr. Ferdynand Źródłowski, prof. prawa rzymskiego na wszechnicy lwowskiej, zm. we Lwowie.

Maksymilian Gluecksberg, adwokat i literat, zm. w Warszawie.

BIBLIOGRAFJA.

M. Hagen. Nowele- Lwów 1895, Cena 4,50 mr.

Abgar Sołtan. Z wiejskiego dworu Nowele. Kraków 1895. Cena 4,50 mr.

F. Hoesick. O Słowackim, Krasickim i Mickiewiczu. Studya historyczno-literackie. Kraków 1895. Cena 4 marki.

Odpowiedzi Redakcyi.

Bolesław Ch. Zamieścić nie możemy. Radzimy szczerze lutnię zawiesić na kołku.

Karmazyn. Wydrukujemy pod warunkiem, że Szan. Pan zechce artykuł skrócić o połowę. Prosimy, o adres, pod którym wysłać mamy rękopis.

Kar. Bliższych wiadomości udzieli pan Dr. Erzepki (Poznań, ul. Wiktoryi nr. 26).

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Za pośrednictwem „Dziennika Poznańskiego“ 7,00 marek.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 682,75 Mr.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Sprostowanie.

W „Kronice powszechnej“ w nr. 40 czytać należy zamiast „Przegląd Wszechświatowy“ — „Przegląd Wszechpolski“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 2. Poznań, Niedziela 13go Stycznia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Bankructwo haseł wolnej konkurencyi.

I.

Korab burżuazyjnej ideologii, który miał nas wieźć z dumnie rozpuszczonemi żaglami po rozhukanych falach życia w świetlaną krainę szczęścia, w ziemię płynącą mlekiem i miodem, w kraj, gdzie słońce wszechbraterstwa i wszechmiłości nigdy nie zachodzi, osiada obecnie na mieliźnie. Ideały starodawnego liberalizmu „militans“, ideały Rouss'a i Condorcet'a, które niegdyś pieściły słuch ludzkości i budziły w jej sercu tysiąc szlachetnych porywów i wielkich dążeń, stały się w ustach współczesnej nam zachodnioeuropejskiej burżuazyi kłamstwem i fanfaronadą. „Przeminął czas, przeminął czas tęczowej cudów powieści!“ Nikt nie bierze na seryo buńczucznych frazesów, rozdętych oracyj i błyskotliwych fajerwerków, którymi dzisiejsza skarłowaciała burżuazya stara się uśpić budzące się do życia i prowadzone dotychczas na pasku zastępy ludu. „Czyście ukoili“ — woła ten ostatni — „tysiąc ziejących bólem ran, czyście złagodzili wołające o pomstę do nieba krzywdy i niesprawiedliwości, czyście przynieśli ulgę zbiedzonym i upośledzonym?“ Lud nie daje się więcej brać na lep obietnic i przysiąg, nie wierzy, by apostołowie burżuazyi zdołali wcielić w życiu chociażby cząstkę przyrzekanych dobrodziejstw. Lecz czyż można brać za złe ten sceptycyzm i brak wiary w skuteczność leków, zalecanych przez tę grupę, która się mianuje pracowniczką w winnicy wolności, gdy ona własnem postępowaniem zadaje kłam swym słowom i budzi wątpliwość o szczerości wygłaszanych przez się haseł? Konia z rzędem temu, kto potrafi pogodzić troskę o dobro „maluczkich“, pieczę o braciach młodszych ze wstrętnem sobkostwem austryackiej burżuazyi, która z uporem godnym lepszej sprawy, przymyka oczy przed widokiem „nizin“ i zatyka uszy przed skargami, podnoszącymi się z suteren budowli społecznej. Trudno, doprawdy, widzieć w giełdziarzu i aferzyście prawdziwego szermierza ludzkości, rycerza bez skazy i zarzutu, mającego walczyć u boku ludu w obronie swobód politycznych, gdy ten sam rycerz rzucił się w objęcia zacofańców i wsteczników jedynie, by nie dopuścić szerokich mas ludowych do urny wyborczej. Czyż ta sama węgierska burżuazya, która z zacietrzewieniem proklamuje wolność sumienia i równouprawnienie wyznań, nie ciemięży ludów słowiańskich, nie stara się trzymać ich w ucisku i ciemności, dążąc do wyplenienia w ich sercach uczucia narodowego? Czyż angielska burżuazya, mająca niedawno jeszcze na swem czele „the great old man“ nie przeszła do obozu tych, których zwykła uważać za antypodów, jedynie w tym celu, by uniknąć konieczności naprawienia błędu stuleci i powetowania starej krzywdy Irlandczykom. A czy może francuzka ludność ma wznieść swój wzrok ku Panamczykom i widzieć zbawiciela w sprzedajnej zgrai, toczonej zgnilizną duchową, dotkniętej niemocą moralną i rażonej paraliżem sumienia obywatelskiego? Czyż błędne ogniki, błąkające się po kałużach błota mają przyświecać pochodowi w przyszłość? Czyż serca przepsute i przepalone prostytucyą duchową, zdolne odczuć cały głąb wielkich i szczytnych ideałów? Czyż ręce moczone w krwawicy ubogich zdolne dzierżyć z godnością sztandar postępu? Wprawdzie pływa burżuazya dalej w potoku frazesów, rozpina po dawnemu tęczę starodawnego liberalizmu i radykalizmu i wykrzykuje od czasu do czasu z emfazą słowa równości, wolności i braterstwa, lecz wszystko to fałsz i obłuda; usta głoszą piękne słowa, a serce pali żądza odznaczeń, orderów i głównie złota a pierś rozpiera pragnienie władzy, która daje możność kieszeń masy obrócić w dojną krowę. I gdy tam na dole rozbrzmiewa głos słowami z „Niedokończonego poematu“ Krasińskiego: „Od sponiewieranych, uciśnionych i nędznych przynoszę wam pozew“, cóż też mogą odpowiedzieć siedzący tam w górze na workach złota towarzysze Wilsona i Hertza? Tak wygląda ideologia burżuazyi. Nie będziemy zapuszczali się głębiej w przyczyny tej dekadencyi. Chcieliśmy zwrócić uwagę na jednę okoliczność. Jeżeli życie przechodzi nad burżuazyą do porządku dziennego, jeżeli ona przestaje być głównym bohaterem chwili bieżącej, to przyczyny tego zjawiska trzeba szukać nie w czem innem, jeno w samem życiu i formach, w które ono odlewa swą istotę. Ten właśnie rozwój, owe „morze wieczyste, tchnienie ogniste w przemiennym bycie“ przekształca te formy społeczne, które niegdyś były uważane za święte i nietykalne. Sama historya ukazała nieudolność stosunków i instytucyi społecznych, dla których ongi kruszono kopie i staczano walki. Nie poprzestając na tem, poddała ona między innemi krytyce jedną z najważniejszych podstaw współczesnego ekonomicznego ustroju, a mianowicie zasadę wolnej konkurencyi. Jak wiadomo, ideałem burżuazyi była nieograniczona i nieokiełznana niczem gra żywiołów ekonomicznych wykluczająca wszelką interwencyę państwa, które miało przybrać stanowisko nocnego stróża i stać się powolnym służką i obrońcą własności i porządku. W trawestacyi na żargon burżuazyi brzmiał ten postulat: wolna konkurencya. Od niej spodziewano się najzbawienniejszych skutków; ona miała być podwaliną postępu i kluczem do rozwiązywania wszelkich zagadnień i łamigłówek społecznych. Złożyć ręce i patrzeć obojętnie na walkę interesów ekonomicznych — oto formułka działania politycznego, która w swej ostatecznej i najbardziej krańcowej formie znalazła wyraz w „Jednostce wobec państwa“ Spencera. Ten ostatni chciał widzieć w dodatku w zasadzie laissez faire zastosowanie odwiecznych praw walki o byt, rządzących wszechświatem, i z tego punktu widzenia potępiał z góry wszelkie wtrącanie się państwa do zatargów społecznych. Lecz rzućmy spojrzenie wokoło siebie i zobaczmy, co się stało z tej św. Trójcy burżuazyi: wolnego handlu, nieograniczonej konkurencyi i „laissez faire“ państwa. Większość państw otoczona baryerami celnemi. Ameryka, przodująca obecnie światu przemysłowemu, trzyma się uporczywie swej protekcyjnej polityki, odpędzającej producentów europejskich. Jak przepowiadają, w ślady jej ma wstąpić opoka i ojczyzna wolnego handlu — Anglia. Ta sama burżuazya, która uważała wolny handel za zbawienie, za jedynie naturalną drogę, za coś wypływającego z samego biegu rzeczy, wypiera się swych teoryi i popełnia tym sposobem duchowe samobójstwo. Lecz nie powinno to nas zupełnie dziwić. Nowe dążenia i programy zostały podyktowane przez konieczność i ducha czasu. Nowsza burżuazya jest również wytworem t. zw. ostatniej fali. Podobnie jak człowiek nie może przeskoczyć przez siebie samego, tak żadna klasa, warstwa lub grupa nie może się wyzwolić z pod wpływu wymagań chwili bieżącej. Nie burżuazya i jej ideały zbankrutowały, lecz samo życie podało do protestu, że się tak wyrazimy, jej zobowiązania. Życie, które ją pasowało ongiś na rycerza, zdegradowało ją następnie na stopień szalbierza politycznego. Że zasady wolnego handlu

zostały podkopane i nadwątlone przez samą ewolucyę, że one nie ostały się wobec krytyki historyi, stojącej po nad kaprysami i chwilowemi zachciankami ludzi, dowodzi jeszcze inna ważniejsza okoliczność, a mianowicie ta, iż chaos konkurencyi ogłosił sam z samego siebie kartele, syndykaty i ringi i zaprowadził współczesną produkcyę i odpowiadającą jej wymianę niespostrzeżenie dla samych ludzi przed wrota monopolu. Ten bowiem jest ostatnim wyrazem industryi daty dzisiejszej i tryumfem rozwoju nad ideologią ludzi. Nadaremnie będziemy się żżymali na tę nową, poniekąd brutalną formę wyzysku i despotyzmu przemysłowego, nadaremnie będziemy taranem swym szturmowali w jego świeżo wzniesioną twierdzę; monopol w dziedzinie handlu stał się faktem niezaprzeczonym i czynnikiem pierwszorzędnej wagi. Historya się nie pyta, o ile te lub inne objawy przypadają nam do smaku i narzuca nam z siłą konieczności wolę swoją. Poddanie się jej rozporządzeniom jest rzeczą nader smutną i przedewszystkiem dla tych, którzy chcieliby prawa świata nagiąć do swych małostkowych myśli i upodobań, zapominając, iż „przeżytych kształtów żadna siła nie wróci do istnienia.“ Historya twierdzi i neguje — że użyję gwary nadwornego pruskiego filozofa, a negując, t. j. burząc przeszłość, znosi jednocześnie stare dolegliwości i klęski. Tyczy się to właśnie i nowopowstającego monopolu. Jakkolwiek można bardzo wiele zarzucać kartelom i trustom, na chwałę ich musimy powiedzieć, iż łagodzą jedną z najciemniejszych stron dotychczasowego stanu rzeczy chaos anarchii w życiu ekonomicznem. Brakiem porządku i zupełną dezorganizacyą odznaczała się swawola konkurencyi. Przewidzieć, zważyć i obliczyć rezultaty walki rynkowej staje się rzeczą przechodzącą siły jednostki z chwilą wzrostu samego rynku. Gdy produkcya została rzuconą w wir wszechświatowej wymiany, ta gorączka wyzyskiwania chwili ogarnęła wielki przemysł na całej linii, a wytwarzanie towarów zamieniło się w grę hazardową i spekulacyę. Podstawa życia materyalnego ludzi stała się polem krwawych zapasów i bratobójczej walki, przynoszącej zwycięztwo posiadaczom kłów i pazurów w postaci kapitału, a porażkę pionkom ekonomicznym. Oddzielne epizody tej walki zaznaczały się katastrofami większych rozmiarów, znanemi pod nazwą kryzysów ekonomicznych. Cały misternie, lecz pośpiesznie i sztucznie wzniesiony budynek rozwalał się z trzaskiem, zasypując pod gruzami tysiące słabszych wytwórców, podczas gdy silniejsi na zwaliskach budowali nowy gmach, przypominający coraz więcej ową piramidę, stojącą na spiczastym wierzchołku. Potentaci, którzy wychodzili zwycięzko, znalazłszy się wreszcie na wyżynach ekonomicznych, zamiast zwalczać się i mordować, postanawiają łączyć się dla wspólnych celów, albowiem walka przynosiła wszystkim olbrzymie straty, solidarność zaś umożliwiała zgodne współdziałanie i opanowywanie rynku. Ztąd pozostawał jeden krok do regulowania samej produkcyi. Na tem polega właśnie pierwszeństwo tych nowoczesnych instytucyi w wielkim stylu wobec przedawnionych poniekąd form monopolu. Ringi mają na celu sztuczne podnoszenie i zniżanie cen. Kartele są to zawiązywane zwykle na przeciąg jednego roku stowarzyszenia wytwórców, porozumiewających się w sprawie wspólnego oddziaływania na rynek i normowania produkcyi stosownie do jego zapotrzebowań. W razie jeżeli wytwórcy oddają zakłady pod jednolite kierownictwo, a powierzanie tranzakcyi powierzają dyrekcyi całego związku, mamy przed sobą syndykat trust zaś powstaje wtedy, gdy związek przyjmuje formę olbrzymiego akcyjnego towarzystwa, a właściciele oddzielnych zakładów poprzestają na stanowisku zwyczajnych akcyonaryuszów. Odstępując instytucyi tytuły własności swych majątków, wyrzekają się tem samem wszelkiej samodzielnej działalności. Trust więc nie jest już niewolnikiem wybryków rynku, gdyż silny jednością i organizacyą jest zdolny uregulować swą produkcyę odpowiednio do jego ilościowych i jakościowych wymagań. Tego rodzaju stowarzyszenia potrafią przeto stawiać czoło i huraganom, zrywającym się peryodycznie w sferze przemysłowo-wymiennej, a z czasem okażą się może zdolnemi do ich zażegnywania. Trust występuje oczywiście jako potęga i wobec luzaków, kroczących samopas po rynku. Dzięki swym zasobom materyalnym, technicznemu rynsztunkowi i sile organizacyi, ruguje on łatwo współzawodników i staje się jakby uosobieniem narodowej produkcyi w obrębie danej gałęzi.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego.

„Kuryer Poznański“ w polemice z „Posener Tageblatt“ takie czytelnikom swoim składa wyznania, przyznania i zaprzeczenia:

„Zamiast nas zwalczać osobiście pomaga sobie „Posener Tagebl.“ denuncyacyą podwójną: grozi nam „Wyspą tumską“ z jednej strony, a z drugiej z właściwym sobie taktem i rycerskością szczególniejszą „Wyspę tumską“ chce robić odpowiedzialną za nasze artykuły. Przyznajemy się, że wśród walki, jaką przeciwko nam rozpoczęto, i z naszej strony pada niejedno wyrażenie i cięcie, którego po wydrukowaniu żałujemy, ale czemże to jest w porównaniu z tego rodzaju denuncyacyami?!

...Co zaś do twierdzenia „Tageblattu“, iż nasze pismo jest organem „Wyspy tumskiej“ — to już mieliśmy sposobność oświadczenia tego przed rokiem, że wdzięczni bylibyśmy za każdą wskazówkę, ztamtąd pochodzącą, bo byłaby ona niewątpliwie i rozumną i dobrą, — ale ponieważ to rzeczą niemożliwą, więc cieszymy się, że przynajmniej poznawszy zarysy politycznej myśli (czyjej? Przyp. Red.) w kierunku utrzymania naszego życia religijnego i narodowego, obok wierności dla Tronu a zgody z naszemi niemieckimi współobywatelami staramy się podług nich postępować.

Jeżeli w tym kierunku błądzimy, albo niewłaściwe ku temu w danej chwili obieramy drogi, naszą to sprawą i odpowiedzialność całą za to my wyłącznie ponosimy. A cóż dopiero w konkretnych przypadkach, we formie lub sposobie pisania!...

Konstatujemy to i po uczciwości dziennikarskiej „Tagebl.“ oczekujemy, że odtąd z nami a nie z „Wyspą tumską“ walczyć będzie, której organem się nazwać i być zaszczytu nie mamy.

..Jeżeliśmy napisali, że do Związku antipolskiego należą ludzie bez honoru, za czem nadaremnie szukaliśmy w naszem piśmie (!) tedy oświadczamy jako uczciwi ludzie, że jeśli tak było, to musi to być także wzięte na karb naszego rozdrażnienia i uniesienia.“

W sprawie rozporządzenia prezesa regencyi kwidzyńskiej, aby sztuki grywane w polskich teatrach amatorskich przedstawiać władzom w tłomaczeniu niemieckiem, zamieściły nieomal wszystkie nasze pisma artykuły polemiczne. *„Gazeta Gdańska“* wykazuje na podstawie broszury p. Palędzkiego („O przepisach prawnych dotyczących amatorskich przedstawień“) bezprawność takiego żądania i taką w końcu załącza uwagę:

„Jeżeliby rozporządzenie p. prezesa reg: kwidzyńskiej miało się utrzymać, wtenczas nie tylko zabawy, lecz nawet zebrania naszych towarzystw byłyby uniemożebnione, bo żądanoby następnie i tłomaczeń wszystkich wierszy, monologów, przemówień i odczytów nie tylko na zabawach, ale i na zebraniach, bo i takowe odbywają się najczęściej u oberżystów i służą członkom nie tylko do nauki, ale i do zabawy.“

W tej samej sprawie piszą do „Gazety Gdańskiej“ z Lubawy:

„Znane rozporządzenie antypolskie rejencyi kwidzyńskiej wprowadzają już w życie. Miało się tu odbyć przedstawienie teatralne polskie, ale policya pozwoliła na nie dopiero wtedy, gdy dostarczono tłomaczenia sztuczek, poświadczonego przez przysięgłego tłómacza. Poseł nasz p. dr. Rzepnikowski postarał się o rzeczone tłomaczenie, sprawę tę wytoczy jednak w sejmie. Ciekawość, co p. minister oświadczy?“

„Gazeta Opolska“ poświęca w Nr. 3 wstępny artykuł polskiemu „Sokolstwu“ cytując za pis-

---

5)

MARYA RODZIEWICZ.

RYNGRAF.

NOWELA.

(Dokończenie.)

— Poruczniku Stanisławie! — rozległ się twardy głos z obcym zupełnie dźwiękiem. Zostałeś podany za ranionego po bitwie pod Puente. Jesteś zdrów... Sztandar i przysięga czeka na twą krew i służbę!

Młodzieniec odsłonił oczy i cofnął się o krok. Oficer o krok postąpił.

— Stanisławie Skabłoński! — powtórzył głos nieubłagany. Jako narzeczonego mojej siostry ja wyzywam o słowo dane i czekam, byś szedł za mną!

Znowu o krok cofnął się zbieg, a sędzia posągowo spokojny postąpił także i znalazł się we wnętrzu altany.

Lampka się paliła, oświetlając stół, a na nim porzuconą gitarę i długie szpilki z włosów Mercedes. Resztę przestrzeni mrok ogarniał, i tylko w głębi blask bił o ryngraf złocisty, zdobiący wezgłowie łoża. Gdy Stach wciąż milczał, jeszcze oszołomiony tem nagłem zajściem, oficer blachę tę ręką mu wskazał:

— Na blasze tej ojców bohaterstwo splamiłeś sromem. Weź ją i chodź ze mną, bo dużo twojej krwi trzeba, zanim ją zmyjesz i oddać będziesz mógł tej matce, która ci ją dała.

Na wzmiankę sromu młodzieniec, jak strzałą ugodzony, podskoczył.

— Milcz, na Boga! Nie rzucaj mi sromu w twarz, bo zapomnę, żeś brat!

— Tyś już dawno zapomniał i podeptał wszelkie węzły! Ja dziś nie jako twój brat przychodzę, ale jako zwierzchnik po zbiegłego żołnierza, jako brat po honor siostry! Chodź za mną!

— Nie! — odparł krótko Stanisław, zacinając się w uporze.

Konstanty jakby nie dosłyszał protestu, założył ręce na piersi i mówił dalej:

— Zostawiłeś za sobą kraj... Gniazdo, które cię wychowało... Kobietę, która ci oddała duszę. Poprzysiągłeś, że ziścisz te wszystkie nadzieje, a ja poprzysiągłem, że cię przeprowadzę przez wojny i pożogi całym i dzielnym... I oto cię tutaj szukać muszę, tutaj zastaję renegata.

Zachwiał się mu głos, ale wnet znowu stwardniał.

— Raz ostatni przychodzę po ciebie, raz ostatni przebaczam i podaję dłoń do powitania! Słuchaj. Jutro o południu pułk stanie do walki. Jutro o południu ty być tam powinieneś na stanowisku u sztandaru, i albo zapomnieć żądzy i wrócić do nas, albo zginąć z honorem... Nad rzeką spotkamy się z Anglikami. Gdzie? Trafisz, bo nasza trąbka grać będzie na ciebie... A teraz nie mów nic, ale pomódl się i opamiętaj! Raz ostatni mówię do ciebie jak kolega, raz ostatni! Pamiętaj i wracaj!

Stach otworzył usta i powtórzył równie twardo: „Nie!“ ale już oficera nie było w altanie...

O świcie kompania opuściła miasteczko. Gdy się Konstanty obejrzał, ujrzał na galeryi domu uśmiechającego się szyderczo Alcada, Mercedes pokazującą im pięść zaciśniętą. Takie było przyjacielskie rozstanie. O południu pułk się połączył z korpusem; idącym naprzeciw Anglików.

Pod gradem nieprzyjacielskich bateryi stawiano most na rzece. Piechota, zajęta tą robotą, padała gradem. Jenerał się niecierpliwił. Pułkownik ułanów, gładząc bujny wąs, uśmiechał się pogardliwie i z kul tych i z gniewu dowódzcy.

mami galicyjskiemi 10 przykazań, któremi każdy „Sokół" kierować się powinien.

W rubryce korespondencyi zamieszcza czasopismo powyższe następującą wiadomość z Koźla:

„W Pawowiźnie (Gnadenfeld) tutejszego powiatu, znajduje się sąd okręgowy. W jednej sąsiedniej wsi założono kasę pożyczkową. Na zebraniu mówiono po niemiecku. Sprawozdanie podano też do sądu w niemieckim języku. Sędzia (znany ze swej pedantycznej sumienności) nie chciał jednak związku sądownie zapisać, a to z tej przyczyny, że na zebraniu mówiono tylko po niemiecku, wiadomą zaś rzeczą jest, że większa część członków nie rozumie niemieckiego języka i zatem nie umie sobie przedstawić doniosłości podjętych obowiązków."

„*Nowiny Raciborskie*" zamieściły w Nr. 4 wstępny artykuł o żałobnej rocznicy trzeciego rozbioru Polski. Scharakteryzowawszy nieustającą łączność i braterstwo Szlązka z Polską i podniósłszy konieczność poważnego nastroju w roku żałoby, kończy szlązkie czasopismo artykuł swój okrzykiem nadziei w pomyślną przyszłość ojczyzny.

W rubryce „Z blizka i z daleka" zamieszczają „Nowiny Raciborskie" wiadomość następującą:

„W ostatnich czasach wydalono z powiatu raciborskiego pewną liczbę poddanych austryackich, bądź to Polaków, bądź Czechów. Wydalenie nastąpiło na podstawie rozporządzenia ministeryalnego, które nie pozwala osiedlać się stale osobom pochodzenia polskiego lub czeskiego w okolicach nadgranicznych, a które początkowo zastósowywano tylko do poddanych rosyjskich. Na pewien czas, przelotnie wolno tu zamieszkać wymienionym wyżej osobistościom, ale też tylko za pozwoleniem naczelnego prezesa."

„*Dziennik Kujawski*" (Nr. 6) w referacie z posiedzenia towarzystwa kat. nauczycieli na Inowrocław i okolicę, taką zamieszcza uwagę:

„Należy z ubolewaniem nadmienić, że dużo nauczycieli w powiecie trzyma się z niezrozumiałych powodów z dala od towarzystwa. Brak cywilnej odwagi jest podobno główną tego ujemnego objawu przyczyną. Śmielszych, którzy już zamierzali do towarzystwa przystąpić, odstręczył nowy, nieprzyjazny prąd, który od pewnego czasu z pewnych sfer ku nam wieje."

„*Gazeta Grudziądzka*" publikuje w Nr. 4 następujące zdarzenie z dziedziny szkolnej:

„Jeden z Niemców, który jest nauczycielem w polskiej wiosce niedaleko Grudziądza, żyje w ciągłej obawie, że go zabiją ojcowie za surowe postępowania z ich dziećmi, które nic nie rozumieją z nauki i nic też z niej nie korzystają. Zapytany o powód, dla czego się źle z dziećmi obchodzi, odpowiedział: „Państwo nie macie wyobrażenia, jak z niecierpliwić może taki dzieciak, gdy mu się ciągle coś powtarza, a on nie rozumie."

— „Dla czegoż więc pan nie wytłomaczysz tego po polsku?"

— No, miałbym ja od inspektora! I tak już dosyć znoszę, bo wymagania jego odemnie są czemś niesłychanem (unerhört)."

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Il Pensiero Slavo*", organ Słowian południowych, wychodzący w języku włoskim w Tryeście, porusza w artykule pod nagłówkiem „La solidarito slavo" kwestyą solidarności słowiańskiej i pisze:

„Słowianie są największą i najsilniejszą rasą w Europie; mimo to z wyjątkiem jedynej Rosyi, stanowisko zajmują subordynacyjne. Takiem jest ich położenie w Austryi, gdzie się znajdują w ogromnej przewadze liczbowej, podrzędnem jest ich znaczenie w Serbii i Bułgaryi, chociaż obydwa państewka są niezawisłe i tylko przez Słowian zamieszkałe. Cóż bowiem im po niezawisłości, kiedy jej w polityce nie posiadają, kiedy kierunek polityki jest niesłowiańskim! I Rosya nie była wolną od wpływów niemieckich; pierwszym z carów, który stanął na gruncie czysto rosyjskim był car Aleksander III. (Tutaj cały ustęp prokuratorya tryesteńska skonfiskowała. Przypisek tłomacza.)

Jeżeli się mówi o solidarności słowiańskiej, której potrzeba nam ze Słowianami poza obrębem naszej monarchii, to całkiem jest naturalnem, iż na myśli mamy li tylko solidarność duchową. Wśród Słowian w obrębie Austro-Węgier solidarność w danych razach może się objawiać i na polu politycznem Wiemy o tem, że każdy z nas zmierzający do utrwalenia solidarności w akcyi politycznej, nazywają przeciwnicy nasi panslawizmem. Mimo to nie mamy powodu żadnego wypierać się panslawizmu. Aspiracye nasze są zgodne z ustawami konstytucyjnemi; dążąc do ich urzeczywistnienia nie wychodzimy, ani nie zamierzamy wychodzić poza granice prawa, nie posługujemy się ani w przyszłości posługiwać się będziemy środkami niedozwolonymi przez konstytucyą.

Jeżeli przeciwnikom naszym podoba się aspiracye te nazywać panslawizmem, to czemuż wypierać się tej nazwy? *Panslawizm polityczny jest utopią i nikomu się nie śni do niego dążyć?* (Il panslawismo politica è un' utopia o nessuno si sogna d'aspirarvi) — *ale panslamizm duchowy może być utopią tylko dla umysłów ciasnych.* Nasze dążenia panslawistyczne nic idą dalej, jak każde gimnazyum włoskie w Austryi powstające w pewnej solidarności duchowej z Włochami. Dalecy jesteśmy tutaj od aluzyi do irydentyzmu. Studyując historyę włoską i literaturę, pielęgnuje się ową solidarność duchową, o której mówimy.

„Żądamy od Słowian wzajemnego poznajamiania, zbliżania się ku sobie na polu literatury, cywilizacyi, specyalnie sztuki. Jeżeli to się nazywa panslawizmem, to nazwa odpowiada rzeczy i chętnie pozwalamy nazywać się panslawistami.

* *

Chorwacki „*Obzor*", organ stronnictwa Strosmajerowskiego pisze o potrzebie zbliżenia się Chorwatów i innych Słowian, co następuje!

„Przywódzcy stronnictwa, nazywającego się u nas stronnictwem prawa (Stranka prava) sądzą, że w naszym programie narodowym nie potrzeba uwzględniać idei słowiańskiej, bo tym sposobem zrażamy ku sobie Madziarów. Jest to nieprawda. Madziarzy czują się silnymi, nie potrzebuję nas, my zaś silnymi możemy być tylko wówczas, jeżeli przeciw nim do walki wystąpimy jako Słowianie.

„Chorwaci, Serbowie i Słowińcy mówią jednym językiem, bo małe różnice językowe pomiędzy Słowińcami a nami można bez wielkiego wysiłku przy wspólnej woli dobrej usunąć. Choć Chorwaci, Serbowie i Słowińcy jeden wspólny mają język, przecież posiadają trzy centra kulturne — Zagrzeb, Białogród, Lublane — i trzy literatury niezawisłe od siebie. W Lublanie wiedzą jeszcze, co się dzieje w Zagrzebiu, ale Zagrzeb i Białogród murem chińskim są przedzielone. Choćby Serbowie i Chorwaci wspólnie działali, byłoby ich mało, ale podzieleni na dwa organizmy są małymi mikroskopijnie.

Dzięki ich zdolnościom naukowym i podziwienia godnej pracowitości, kultura czyni we wszystkich trzech centrach znaczne postępy, szczególnie w Zagrzebiu. Pielęgnując jedność i zgodność w działaniu moglibyśmy wytworzyć literaturę kwitnącą...

W tych dniach teatr białogrodzki zaprosił na uroczystość jubileuszową dyrekcyą teatru zagrzebskiego i kilku artystów chorwackich. Zagrzeb, choć gdzieindziej pojmuje solidarność słowiańską, na to zaproszenie wcale nie odpowiedział. Nie jest to fakt odosobniony owej nieuzasadnionej i śmiesznej niechęci ku Serbom, i wiemy o tem dobrze, jakie to zdarzają się objawy nienawiści. Naród serbski i chorwacki jest jedynym narodem, noszącym dwa nazwiska, dla tych nazw nie powinniśmy wzajemnie się nienawidzić.

* *

O prześladowaniu czeskich księży w Istryi,

— Jenerale, dajno moim zuchom pohulać! Zakneblują oni pyski tym gadułom!

— Ba, ale jak?

— Jak, to moja rzecz i ich. Czekam rozkazu do tańca.

— Masz go, chociaż nie pojmuję...

Francuz nie dokończył. Pułkownik spiął konia i ruszył ku swoim. Zagrały trąbki i rozległ się szalony okrzyk. Jak potomkowie skrzydlatej husaryi, runęli naprzód szalonym pędem. Dopadli rzeki, spięli konie ostrogami i prażeni kulami skoczyli w nurty.

Szyk się zmieszał na chwilę, zerwany prądem, potem wynurzyły się spienione łby, zagniione twarze, nad niemi las proporców. Płynęli jak ławica delfinów.

Pierwszy zgruntował kasztan oficera, który do szyi przygięty, nie oglądając się, popędził dalej na bateryę. Nim Anglicy mieli czas się opamiętać, ten jeden pierwszy dopadł armaty. Kanonier, cięty przez głowę, zwalił się, plując krwią, drugi dostał strzał pistoletowy w piersi, trzeciego już koń tratował. Rzucono się na szaleńca, posłyszał wokoło głowy deszcz kul, ale już ułani dobiegali bateryi i wsiedli na karki, kłując, siekąc, jak huragan waląc wszystko po drodze.

Armaty ucichły. Piechota rzucała ostatnie przęsło mostu, wojsko ruszyło w pomoc swoim. Czas był. Ułani klinem wbili się między główny korpus angielski i powstrzymani murem bagnetów, siekli i bili się jak osaczony odyniec. Cofać się nie mieli zwyczaju i topnieli, zalani czerwoną ćmą piechurów.

Ale oto pułk po pułku mijał most i zdemontowane armaty, rzucał się w wir bitwy. Walka zawrzała na wszystkich punktach. Wieczorem opadły dymy. Angielskie niedobitki poszły w rozsypkę, gnane przez zawziętych ułanów.

Zwycięzkie pułki defilowały przed sztabem, zbierając laury, wykrzykując ile siły. Ostatni byli ułani. Przywlekli pod stopy wodza zagwoździone działa, znieśli pęki zdobytych chorągwi. Sami osmaleni, zdziesiątkowani, potrząsali skrwawione proporce i sztandar swój kulami porwany, szmatę bezkształtną, pochylili przed wodzem. Kazał im stanąć. Podjechał pod front.

— Kapitan Konstanty! — zawołał.

Oficer wysunął się naprzód i, salutując, czekał rozkazu.

Jenerał odpiął swój krzyż z piersi i przypiął go do podartego munduru.

— Majorze Konstanty, przyjm moje podziękowanie. Gdybym mógł, zrobiłbym cię dzisiaj marszałkiem Francyi. Nie wątpię, że nim kiedyś zostaniesz.

— Niech żyje jenerał! — rozległo się z tysiąca piersi.

— Niech żyje cesarz! — poprawił jenerał.

— Niech żyje! — powtórzono chórem.

Nastąpiły dalsze odznaczenia, pochwały, rozdawanie orderów. Konstanty cofnął się na swe miejsce. Późno w noc trwały okrzyki, wrzawa, ruch gorączkowy.

Nikt o śnie nie myślał. Zabici potrzebowali grobów, ranieni opatrunku, zdrowi i cali wina i pożywienia.

Tak ta noc zeszła w upojeniu tryumfu.

O świcie, gdy zebrano prowiant i załatwiono grabarską i lazaretową czynność, a wojsko biwakowało, warząc strawę, zameldował się Konstanty u pułkownika i poprosił o urlop na dwa dni.

— Cóż to? Ranionyś, zuchu?

— Nie. Bóg nie chce mnie brać — odparł posępnie.

— Ejże! Wie, co czyni! Cóż więc innego? Romansik? hę?

— Nie.

— No, no, nie nalegam i szanuję tajemnicę. Masz swoje dwa dni urlopu. Rób sobie z niemi, co chcesz, tylko nie oddalaj się zbytnio i wracaj nam cały.

Konstanty podziękował i wyszedł. Nie wstąpił nawet do obozu, tylko prosto z tego posłuchania, od namiotu zwierzchnika zawrócił między grabyy pola kukurydzy i w nich przepadł.

gdzie liczne istnieją kolonie czeskie, piszą „*Vecerne Noviny*“, wychodzące w Pradze:

„Nie można sobie wystawić, na jakie prześladowania bywają w Istryi narażeni księża słowiańscy, którzy opierają się tendencyom wynarodowienia Słowian na rzecz narodowości włoskiej. Na księży posądzonych o słowianofilizm rzuca motłoch włoski kamieniami, a zdarzają się wypadki, że do księży takich strzelają. Czem dalej tem gorzej. Stosunki znacznie się pogorszyły, odkąd piskupem w Porzeczu został Flapp, znajdujący się całkiem pod wpływem irydenty. Od chwili objęcia rządów dyecezyi przez niego nie został mianowany ani jeden Słowianin proboszczem; kanonikami są najżarliwsi Włosi i umyślnie sprowadza się do parafii słowiańskich księży włoskich, po słowiańsku nic nie umiejących. Pisma żydowsko-liberalne, jak „Corriere di Gorizia“ nazywają biskupa liberałem i nazywają go swoim.

„Wielu już księży słowiańskich pomarło ze zgryzoty, wielu opuściło parafie nie mogąc się wobec ciągłej agitacyi motłochu i dyscyplinarnych środeczków biskupich ostać.

„Z powodu tych prześladowań księży słowiańskich interpelować będą rząd posłowie chorwaccy dr. Leginja i Spincic...

K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Praca kobiet i stowarzyszenia zawodowe.

(Dokończenie.)

Widzimy więc, że do rzemiosła wtargnął dziś kapitalistyczny podział pracy, układając stosunki na niekorzyść kobiet. W tych bowiem zawodach, w których pracują przeważnie lub wyłącznie kobiety, jak w kwiaciarstwie, szyciu sukien lub bielizny wytworzył małą garstkę pracownic, znających cały fach, uzdolnionych i pobierających dzięki temu wysokie płace, w innych zaś, gdzie zostały one dopuszczone do zawodów męzkich spełniają roboty łatwiejsze i mniej płatne. Tak jest w rękawicznictwie, gdzie należy do nich szycie rękawiczek, krój zaś znajduje się zwykle w ręku mężczyzn. W szewctwie obok nielicznych wykwalifikowanych szewcowych zajęte są przeważnie obszywaczki, które rzemiosła właściwie nie zdają, bo do wyuczenia się nie dopuszczają ich i zadawalniać się w skutek tego muszą niską płacą.

Ale ten sam gospodarczy rozwój wykazał konieczność masowego zajmowania kobiet w rzemiośle i z niektórych gałęzi, jak z szycia i kroju sukien i bielizny wypiera mężczyzn. Rzemieślnicy pogodzić się już dziś musieli z faktem pracy kobiet, korzystnego dla nich poniekąd, gdyż przedstawia tanią siłę roboczą. Pogodziwszy się przecież, skłaniają się do zorganizowania ich w rzemieślnicze zgromadzenia, które aż dotąd są jedyną dozwoloną formą stowarzyszania się dla ludności zajętej w przemyśle.

W dawnej organizacyi cechowej w Polsce kobiety dopuszczone były niejednokrotnie do cechów, ale nie jako samodzielne wytwórczynie, tylko jako wdowy po mistrzach, którym dozwalano w dalszym ciągu prowadzić proceder męża, bez prawa przyjmowania uczniów. Wychodząc powtórnie za mąż, za ludzi innego rzemiosła, dawne porzucić musiały, nie wolno było bowiem wykonywać dwóch fachów tej samej jednostce gospodarczej. Jako samodzielne rzemieślniczki, wykwalifikowane tak samo jak ich towarzysze rzemieślnicy, występowałyby przeto po raz pierwszy w cechach w Polsce. Pomysł przyjmowania kobiet do cechów powstał w roku zeszłym wśród krawców. Ponieważ ustawa cechowa z 1816 r., do jakiej aż dotąd stosować się muszą rzemieślnicy nasi, nie przewiduje pojawienia się w cechu tego nowego elementu i nie zawiera wyraźnego zakazu by go nie przyjmować, więc chodziło raczej o kwestyą formalną, która przez urząd miejski rozstrzygniętą być mogła.

Krawcy nasi są przecież ostrożni. Kobiety do cechu dopuścić należy, bo zastęp szwaczek i przedsiębiorczyń, utrzymujących pracownie jest tak liczny, iż mogą one bardzo ważny element w cechu stanowić, a same z pomocy jego w razie choroby korzystać. Zresztą cechy zawsze dążyły do usunięcia t. zw. fuszerów, t. j. rzemieślników niececbowych. Nie zapominają przecież panowie rzemieślnicy, że białogłowie w publiczne sprawy wdawać się nie godzi, było tak zawsze i wspólna praca na jednem polu nie powinna zmieniać tego zgodnego z naturą stanu. To też w podaniu swem o przyjmowanie kobiet do cechu, zastrzegli, że kobiety nie będą miały prawa głosu, ani obieranemi na urzędy, ani wyborcami być nie mogą.

Owo pozwolenie zatem jest tylko półprawem, które właściwie na dolę kobiet mało wpłynie, zależeć bowiem będą zawsze od cechowej starszyzny, obranej bez ich woli. Jak się zdaje inne cechy chcą na tych samych warunkach przyjmować kobiety. Tymczasem dyskusye nad stosunkiem kobiet do cechów z pojedyńczych zgromadzeń przeniosły się do warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Towarzystwo popierania przemysłu i handlu, instytucya, gromadząca techników, chemików, rolników, handlowców, rzemieślników, słowem zawodowców wszelkiego rodzaju, zakłada po różnych miastach państwa swoje filie. Te zajmują się teoretycznemi i praktycznemi interesami stanów i fachów, do jakich należą ich członkowie, dając sposobność do wygłaszania opinii w różnych gospodarczych sprawach. W królestwie filie takie istnieją dotąd w Warszawie i w Łodzi.

Aż dotąd Towarzystwo w liczbie swoich członków liczyło tylko mężczyzn, ale w bieżącym roku otworzyło swoje podwoje i dla kobiet, które zapisały się tu w liczbie 11, tworząc delegacyą, która zajmować się ma warunkami pracy kobiet. Pierwszą kwestyą, jaka nastręczyła się delegacyi była sprawa przyjmowania kobiet do cechów męzkich, sprawa, która wkrótce dla wszystkich rzemiosł pomyślnie rozstrzygniętą zostanie.

Warszawskie zgromadzenie krawieckie przyjęło dotąd 54 uczennic na prawach terminatorów, wyzwoliło po wytrzymaniu egzaminu czeladniczego 22 podmistrzyń, a po wpisaniu się do cechu 5 mistrzyń. Ostatnie w prawach i obowiązkach porównane zostały z majstrami cechowemi, z wyjątkiem wspomnianego już wyborczego prawa. W cechu szewckim wyzwolono również przed paru laty podmistrzynię, która wszelkim przepisanym warunkom uczyniła zadość. Na prowincyi cech szewcki przyjął bez żadnych trudności mistrzynię, która wykazawszy odpowiednie kwalifikacye założyła warsztat szewcki. Powstanie cechów mięszanych w tych zawodach, w których pracuje znaczna liczba kobiet jest przeto tylko kwestyą czasu. Obok nich przecież powstać muszą i cechy wyłącznie lub przeważnie kobiece w tych rzemiosłach, które aż dotąd tylko przez kobiety są uprawiane n. p. kwiaciarstwo. Za inicyatywą delegacyi kobiecej u Tow. pop. przemysłu i handlu kwiaciarki podpisały petycyą o pozwolenie zawiązania takiego cechu, a uczyniły to tem chętniej, że o ile z obawą pewną przystępują do cechów męzkich, o tyle dążność do utworzenia czysto-kobiecych zgromadzeń jest ogólną.

Przy zawiązywaniu cechu oprócz korzyść przewidzianych przez ustawy kieruje nie mi chęć do solidaryzowania się z konkurencyą fabryk żydowskich, które byt rzemieślników naszych

---

Tej samej nocy drzwi do miłosnego gniazda pięknej Mercedes i jasnowłosego dziecka północy otwarły się bez szelestu i wpuściły do środka — już nie zwierzchnika, ale mściciela. Zbieg zdawał się być przygotowanym na te odwiedziny. Siedział u stołu z głową na dłoni opartą, a na szelest kroków podniósł oczy, i spokojne, trochę mgławe spojrzenie utkwił w zczerniałem obliczu straconego przyjaciela.

Potem wstał, i zbliżając się nieco, rzekł drżącym głosem:

— Powiedziałeś tutaj przed paru dniami, że przychodzisz raz ostatni! Cóż mi teraz przynosisz?

— Ostatnią łaskę. Powinienem cię był denuncyować i pod strażą odprowadzić przed sąd wojenny, ztamtąd na plac hańby, gdzie na cię czeka stryczek dezertera. Przychodzę sam — jako sędzia i kat zarazem. Sztandar i przysięga onegdaj wzywały cię przezemnie do siebie — dzisiaj — w mojej osobie przychodzę po twoją krew!

Stach się zachwiał.

— Przychodzisz zatem jako morderca. Jestem bezbronny, nie zamknąłem drzwi nawet, nie uciekam!

— Bo czujesz się winnym i uznajesz słuszność mego czynu.

— Nie, ale, wbrew twemu wyobrażeniu, nie jestem tchórzem i nikczemnym. Nawet przed szaleńcem nie myślę się kryć i uciekać. Rzuciłem sprawę do gruntu nieuczciwą, bo mi honor bronił walczyć z opryszkami pod wodzą tyrana i mordować bohaterów patryotyzmu. Nie wrócę też do was!

— Kłamiesz swe pobudki. Rzuciłeś sztandar nie dla honoru, ale dla czarnych oczu zalotnicy.

— Milcz, to moja narzeczona!

— Narzeczona twoja jest daleko i czeka na ciebie. A tyś zdrajca i zaprzaniec! Dosyć tego, nie przyszedłem słuchać twych kłamliwych tłomaczeń! Ratowałem cię wszelkiemi siłami, kosztem czci własnej — napróżno. Teraz zgubiony jesteś i umarły. Na liście wojskowej podany jesteś za nieżyjącego. Tak zostanie, bo ja nie chcę, byś tam stał jako sądzony za zdradę i dezercyę. Kartę twoją utrzymałem czystą — i taką zostanie!

Śmiertelnie blady oficer wydobył pistolet i drżącą ręką nasypał prochu na panewkę. Oczy mu płonęły dzikim ogniem niczem już niecofniętej decyzyi. Stach rzucił się w bok nieprzytomny.

O szczęściu marzył, żyć chciał, instynktem zachowawczym wiedziony, porwał za szablę i ciął oficera przez ramię. Konstanty nie drgnął, jakby nie czuł razu. Podniósł pistolet i wypalił w pierś młodzieńca w chwili, gdy szabla dotykała go prawie.

— Mercedes! O, Jezu! — jęknął Stach, waląc się na wznak i chwytając za piersi.

Oficer opuścił pistolet i pochylił się nad nim. Już nie żył, tknięty jak gromem w samo serce. Mściciel dojrzał to, popatrzył chwilę z zastygłą martwotą twarzy, podszedł do posłania, ryngraf zdjął ze ściany, ukrył za mundurem i wyszedł z tego skrwawionego gniazda nieszczęsnego szału.

Szedł powoli, jakby czekał, że z domu Alcada wypadną zbrojni, zwabieni strzałem, i rozsiekają go.

Może pragnął tego, bo się widocznie ociągał.

Ale głuchego odgłosu nikt nie dosłyszał i Mercedes stroiła się właśnie na schadzkę z ukochanym, gdy tam w altanie trup tężał już, a czarny cień wykonawcy okrutnego prawa niknął w pustych winnicach...

* * *

Minęło dużo czasu. W dwóch dworach na dalekiej północy czytano chciwie urywane sprawozdania tytanicznych bojów, w myśli dążono za armią przez grody i rzeki, od klęski do zwycięztw, chwytano wieści i posłuchy — i z wiarą, czerpaną w modlitwie, czekano wciąż dwóch tułaczy.

Byli bezustannie na ustach i w sercach, widziano ich we snach, spodziewano się codzień.

Aż pewnego zimowego wieczora zakołatała

podkopują na każdym kroku. Taki przynajmniej nastrój panuje wśród kwiaciarek. Zależeć będzie od umiejętnego kierownictwa, czy taki wyłącznie, czy przeważnie kobiecy cech będzie się mógł należycie rozwijać, a wtedy i kwestya wyborów rozstrzygniętą być musi na korzyść kobiet.

Widzimy tedy, że gospodarcze stosunki bezwiednie niemal kierują u nas sprawą stowarzyszeń kobiecych, na tę samą drogę, na jakiej jest dziś już w Anglii. Jest to konieczność, wynikająca z samego faktu zawodowej pracy kobiet, gdy ona jest regułą, a nie wyjątkiem.

Dr. Z. D.

LITERATURA I SZTUKA.

Najnowsze dzieło Ibsena.

(Ciąg dalszy.)

Przemądrzała stara baba, która oczyszcza pomieszkania i sklepy z szczurów i innych brzydkich stworzeń, przybywa do domu, niosąc w koszyku nieodstępnego towarzysza — czarnego pieska i rzuca urok na Eyolfa swem opowiadaniem o „zwabianiu“ szczurów.

ZNAHORKA. Mój mopsik i ja, oboje razem dokonujemy tego i — jak możecie państwo zauważyć, wszystko idzie jak z płatka. Poprostu przeciągam sznur przez obrożę i oprowadzam go trzy razy wkoło domostwa, grając na piszczałce. Gdy szczury posłyszą, muszą wyleźć z kątów i załuków, z głębi przegniłych komórek i dziur, muszą wyleźć wszystkie te małe kreatury.

EYOLF. I czy on je zagryza na śmierć?

ZNAH. Nie, bynajmniej. Idziemy do łódki; oboje razem, on i ja — one postępują w ślad za nami, duże szczury zarówno jak drobne szczureczki.

EYOLF (zaciekawiony). I co potem powiedz mi.

ZNAH. Potem odbijamy od brzegu; ja odpycham czołno wiosłem, grając na piszczałce, a mopsik płynie po za mną. (z iskrzącemi się oczyma) Wszystkie te pełzacze i czołgacze ciągną i ciągną za mną na głębokie wody, bo — muszą.

EYOLF. Czemu muszą?

ZNAH. Dla tego właśnie, że nie chcą, że nie chcą, że — śmiertelnie się boją wody. Dla tego to muszą w nią wskakiwać.

EYOLF. A czy topią się?

ZNAH. Wszystkie co do jednego. (trochę łagodniej) A tam wszystko jest tak spokojne, ciche i ciemne, jak tylko serca pragną tych milutkich stworzonek. W głębinach zasypiają snem bardzo długim, słodkim, a nikt ani nie nienawidzi ich, ani nie prześladuje, (powstając) Dawnemi czasy nie potrzebowałam wcale mopsa, muszę ci powiedzieć. Wtenczas zwabiałam je sama jedna.

EYOLF. A co, kogo zwabiałaś?

ZNAH. Ludzi. Przeważnie jednego...

EYOLF. (ciekawie) Kto to był? Powiedz mi!

ZNAH. (śmiejąc się). Był to mój własny kochanek, tak jest, mały serc pogromca.

(Być może, że pod kochankiem znahorki — śmierci, autor ma na myśli ducha wiary chrześciańskiej.)

EYOLF. A gdzie on się teraz znajduje?

ZNAH. (surowo). Tam w głębi, gdzie wszystkie inne szczury.

Chłopak wymyka się z domu w ślad za znahorką, i, wszedłszy na most wrzynający się w morze, spogląda za jej łódką, jak dowiadujemy się później, przez krawędź, podczas, gdy wiedźma wiosłuje przez fiord. Wypadek cały zaznaczony jest kilku niezrównanemi rysami. Naraz dochodzą zmieszane głosy rybaków i ludu wiejskiego. Ktoś topi się! Dziecko! Chłopiec! Matka odgaduje pierwsza całą prawdę. „Pozwólcie mi posłyszeć ich słowa“ — woła Rita. Słowa, które dochodzą jej uszu, a powtarzają się kilka razy, brzmią: „kula pływa.“ Odtąd Alfred i Rita skazani są pędzić życie samotne w towarzystwie dwóch furyi: niezgody i wyrzutów.

W mistrzowskim akcie drugim znajdujemy wszystkie główne rysy tragicznego położenia Allmersów, oraz tysiące subtelnych półtonów tych wysoko nastrojonych dusz. Rąbek welonu osłaniającego ich stan duszy uchylił się poprzednio, teraz zasłona spada zupełnie; poczynają skalpelem rozcinać swój ból i swe piersi wzajemnie. Allmers zbliża się do siostry, z którą cicho spędził lat wiele, zanim poślubił Ritę, a oddala od żony. Zrazu Eyolf tylko zaprząta jego myśli. Gdzie on jest obecnie? Czy śpi opodal brzegu? Albo może podwodne prądy uniosły go dalej, w głębsze łożysko fiordu? Wnet wszakże poczyna tęsknić za życiem przy boku siostry, marzy niejasno o usunięciu się od żony i odrodzeniu własnem, jakby popęd samozachowawczy podszeptywał mu zrzucenie jarzma bólu i pragnienie innej atmosfery. Niekiedy myśl jego zawadza o rzeczy trywialne, jak n. p. co będzie jadł na obiad, aby w końcu powrócić do tego, co szczegółowo go zajmuje t. j. nie śmierci dziecka, lecz stosunku do żony. Małżonkowie winę spędzają na siebie wzajemnie. „Głupstwo (woła żona) miłość twoja do dziecka była czysto egoistyczną — niczem innem jak pewną fazą w umysłowym rozwoju.“

RITA. Spojrz w siebie! (z pewnym wyrazem niepokoju) Przeszukaj wszystkie te kłamstwa i ukryte motywy twych czynów.

ALLMERS. (unikając spojrzenia). Wzdrygasz się przed powiedzeniem mi czegoś.

RITA. Ty tak samo masz coś na sercu.

ALLMERS, (patrząc na nią zamyślony). Jeźli tak jest w istocie, to nie posiadaliśmy naszego własnego dziecka.

RITA. Nie, nie w skończonej miłości.

ALLM. A tymczasem gorzko biadamy nad jego stratą.

RITA (sarkastycznie). Tak nie jestże to dziwnem, że opłakujemy tak bardzo obcego nam chłopca.

ALLM. (z wybuchem). O! nie nazywaj go obcym.

RITA (smutnie potrząsając głową). Nigdy nie udało nam się przykuć tego chłopca do siebie. W każdym razie mnie nie — i tobie także nie.

ALLM. (załamując ręce). Teraz niestety zapóźno, zapóźno...

RITA. A z nikąd pocieszenia — znikąd.

Allmers ze swej strony jest niemniej bezlitośnym i brutalnym. Zdziera osłony z konwencyonalnych kłamstw i utrzymuje, że Rita namiętności poświęciła miłość macierzyńską. Adam zwala winę na Ewę, Ewa na Adama jak w Utraconym raju Miltona. Oboje w zarzutach mają słuszność. Autor śmierci Eyolfa nie kładzie wyłącznie na karb tego, że Rita *chciała* jego nieistnienia, lecz wini oboje za to, że kochali syna egoistycznie, każdy na swój sposób. Za to postradali raj. Jak go zdobyć? Mają uczucie jakby odkupienie winy lubo zapomnienie o niej było możebnem. Alfred przychodzi sam do przekonania, które tkwiło w nim przez cały ciąg pierwszego aktu, po powrocie z gór, których widok natchnął go idealnie, — że popęd zmysłowy powinien między niemi zamrzeć na zawsze.

---

dłoń zmęczona do drzwi i człowiek samotny, szronem okryty, wychudły i czarny od mąk niezliczonych, stanął w progu.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — pozdrowił trzy kobiety, co nie poznały ni brata, ni narzeczonego młodzieńca w tym chudym, wyniszczonym mężczyźnie.

Dopiero go głos zdradził i odkrył.

— Konstanty! O Boże!

I rzuciły się ku niemu. Ale wtem poszukały kogoś jeszcze drugiego za nim — i stanęły, jak wryte.

— A Stach? — spytały blademi usty.

Ułan głowę skłonił i w zanadrze sięgnął.

— Stach poległ śmiercią walecznych na polu chwały i tylko ryngraf, krwią jego zbroczony, wam odnoszę! — rzekł uroczyście — w ręce babki, matki dzielnych synów, oddając tę z pod Cecory spuściznę!

I było to jego trzecie kłamstwo, i już ostatnie.

Szły potem pułki na wyprawę daleką — i on poszedł. A ztamtąd nikt już kobietom-sierotom nie przyniósł o tym ostatnim wieści — i on już nigdy nie wrócił...

JAROGNIEW.

BOŻA MĘKA.

Słońce już dawno zniknęło za lasem dalekim, tylko został po niem na niebie szmat wąski, purpurowy, jakby słońce zachodzące wysłało jeszcze garść promieni, ciekawe, co ludzie mogą robić bez niego.

Wszystko wracało z pola do chat, — stary pastuch pędził bydło z pastwiska, ledwo mogąc podążyć za niem, tak spieszyło się do domu.

Włócząc za sobą nogi w ogromnych butach, przysiadał za każdym krokiem i ciągle podążał z jednej strony drogi na drugą: tam odpędzał zbłąkaną krowę od chaty, do której nie należała, tam odstraszył drugą, która wkradła się do ogródka, aby w przechodzie zerwać jeszcze kilka łęt kartoflanych.

— Hoł, hoł, — wołał ciągle, a pies jego ustawicznem szczekaniem, starał się z nim porówno przyprowadzić porządek.

Co chwilę odrywało się od stada krów kilka, biegnąc w podskokach do chlewików znajomych, przed któremi już gospodynie czekały ze stołkami szkopkami do doju.

Fornalka Antoniowa wyszła właśnie z chaty, niosąc w jednej ręce stołek, w drugiej kubełek do mleka.

— Kaj bywaliśta, Zadrucha, tak długo, — zawołała do pastucha, szczerząc się do niego, — pewnośta dziewczętom zalecali się na polu.

— A ino, pewno wam markotno, ze nie do was?

— Juźci markotno mi śwarnego chłopca.

Pastuch udał, że nie słyszy słów jej ostatnich.

— Co wy, szczerzyta się do Zadruchy? — wyręczyła go w odpowiedzi włodarka.

— Mojego nie ma, to i cóż? — odparła rezolutnie Antoniowa, ustawiając stołek przy krowie.

Zarzuciła jej jeszcze przedtem zielska, aby spokojnie stała i zabrała się do dojenia.

Siwuchą Janowej, chałupnicy, biegła na samem czele stada; chata jej pani stała na krańcu przeciwległym wsi. Janowa miała jedyną krówkę, małą i niepozorną, ale za to wyborną dójkę.

— Siwucha Janowej to galantna dójka, garniec mleka na jeden udój to u niej nic, — mówiły o niej baby we wsi z uznaniem.

Tymczasem siwucha biegła, oddalając się coraz bardziej od stada: z chat wypadały pie-

ALLM. Miłość była jakoby płomień. Teraz musimy go przytłumić

RITA (z żywym giestem ręki). Przytłumić!

ALLM. (poważnie). Jest on już przytłumionym — w jednym z nas.

RITA (jakby uderzona gromem). Jak śmiesz to mówić do mnie.

ALLM. (łagodnie), Tak jest Rito. Jednakże w mych uczuciach ku tobie — w naszem wspólnem przewinieniu i pragnieniu oczyszczenia — przewiduję jakieś zmartwychpowstanie.

RITA (gniewliwie). Nie dbam ani trochę o zmartwypowstanie.

ALLM. Rito!

RITA. Jestem stworzeniem o gorącej krwi i daleką od pędzenia życia w półśnie, bo — w żyłach mych nie płynie krew rybia. (załamując ręce) Teraz jestem przykuta na całe życie — męką i wyrzutami — przykuta do człowieka, który więcej do mnie nie należy, nie należy.....,

Tu następuje scena, która w nagiej swej realności jest bodaj bezprzykładną w poważnej literaturze dramatycznej i w rękach innej miary pisarza byłaby trywialną.

Allmers widząc. że dalsze pożycie z żoną staje się niemożliwem, chce zamieszkać przy siostrze, do której przywiązanie jego przechodzi niewyraźnie granice braterskich węzłów.

„Nie — mówi Asta — to być nie może. Ojciec twój nie był mym ojcem, a ja nie jestem twą siostrą.“

Gdyby Asta była Rebeką West lub Heddą Gabler. byłaby gotową subtelna komplikacya, lecz Asta niema w sobie „nerwu“, który według zdania Ibsena skierowuje potok uczuć ludzkich gdziebądź bez względu na ludzką wolę. Akt zatem kończy się [illegible] wyznaniem uczuć z jej strony, oraz postanowieniem wyrzeczenia się Alfreda.

W akcie trzecim przybywa Borgheim, młody inżynier, „torujący drogi“, którego obecność w poprzednim akcie Rita napróżno kusiła się zużytkować do wywołania w mężu zazdrości. Pełen energii i wiary w siebie młody człowiek kocha się w Ascie, która, postanowiwszy opuścić dom Allmersa, sposobi się do drogi. Sympatyzuje ona z inżynierem i jego zawodem, łecz uczucie to jest dalekiem od miłości. Zresztą instynktownego popędu nie zdaje się ona pojmować. Szczytem szczęścia jest w jej oczach stosunek, jaki łączył ją z Alfredem, zanim tenże ożenił się, bo obfitował w niewinne, naiwne i subtelne blaski radości. Jednakże teraz odczuwa w oku Alfreda niewyraźną trwogę. Allmers zaś spragniony czystego, niemateryalnego związku, opartego na wzajemnem zrozumieniu się dusz i harmonii, pragnie zatrzymać ją pod swym dachem. Autor wszakże suggestyonuje z przedziwną finezyą, że Alfred, aczkolwiek bynajmniej nie zdaje sobie z tego sprawy, mógłby pokochać Astę miłością nieplatoniczną i Asta, w swej kobiecej przenikliwości, odczuwa to.

ALLMERS. Musisz przyrzec, że wkrótce powrócisz.

ASTA. Nie, nie mam odwagi przyrzekać tymczasowo.

ALLM. A więc — niech i tak będzie. Wnet zatem spotkamy się w mieście.

ASTA (błagająco). Lecz Alfredzie, musisz przecież teraz pozostać w domu z Ritą!

Allmers nię daje na to odpowiedzi, bo myśli o rozstaniu się z Ritą!

Czytelnik mógłby zakwestyonować powyższe objaśnienie stanu uczuć Allmersa, bo, przecież mimo rzucanych sobie wzajemnie wyrzutów, stosunek jego przyjazny z Ritą trwa niezłomny. Dlaczego zatem zanika w nim wszelki popęd do tej pięknej osoby, z którą spędził lat wiele? Przywiązanie ich bowiem było dotąd oparte li tylko na zmysłach, zresztą nie mieli z sobą nic wspólnego. Tymczasem wycieczka w góry, zapoczątkowała w umyśle jego zwrot zasadniczy. Śmierć dziecka, poczucie wspólnej winy, przepaść pogłębiło, a narzucające się zachowanie Rity, delikatne uczucie jego dotknęło do żywego. Zdaje się, jakbyśmy słyszeli tu Ibsena mówiącego: „gwałcono jego w o l n ą w o l ę.“ U jednostki tak wysoko nastrojonej, tak uduchowionej, popęd fizyczny może wzniecić się dopiero, gdy dusza jego zagości w duszy kobiety. Autor wogóle stawia za *conditio sine qua non* domowego szczęścia zupełną harmonią dusz, idzie nawet tak daleko, że uważa taki związek małżeński za zupełnie normalny, w którym nie gra roli wzgląd na zmysły, lecz tylko zbratanie duchowe. Nalegania Allmersa i osamotnionej jego żony na Astę, aby pozostała, odnoszą ten skutek, że gdy parowiec ma odchodzić, pyta się Borgheima, czy chce jej towarzyszyć.

ALLMERS. Wydaje się, jakbyś ratowała się ucieczką.

ASTA (z tłumionym niepokojem). Tak jest, r a t u j ę się ucieczką.

ALLM. Ucieczką przedemną?

ASTA (szeptem). Przed tobą i — przed sobą.

Złączona z nim duchowo Asta, czuje, że to przebywanie z Alfredem w wspólnej krainie myśli, mogłoby ją pociągnąć dalej, aniżeli wzgląd na Ritę pozwala.

(Dokończenie nastąpi.)

Nobody.

Psychologia powodzenia.

*(Podług Scipiona Sighele).**)

Znaną jest anegdota o pewnym sławnym adwokacie, który widząc raz, że go tłum oklaskuje, przerwał swą mowę i zawołał:

— Co znaczą te oklaski? Czy głupstwo jakie powiedziałem?

Podobnie jak ów dumny i dowcipny mówca jest zapewne niemało ludzi na świecie, którzy gardzą sądem tłumu i stosują do siebie arystokratyczną zwrotkę poety:

„To tylko mi się podoba, co nie przypada do smaku nieokrzesanemu gminowi...“

Ale, czy ta pogarda jest też istotnie szczerą?

Pominąwszy nie wiele rzadkich. wyjątkowych przypadków patologicznej mizantropii, wątpię o tem. Dla pozy może lub snobizmem kierowany ten i ów „arystokrata ducha“ — obdarzy pogardliwem „filistrów“ mianem wszystkie nieznane mu indywidua, składające się na zbiorową całość, zwaną większością. W gruncie rzeczy jednak „filister“ otaczany bywa szacunkiem i obsypywany pochlebstwy, gdyż nikt inny, tylko on daje palmę tryumfu i wieniec sławy wkłada na skroń swego ulubieńca. Zyskanie za jakąkolwiekbądź cenę poklasku jest dziś rzeczą powszechnie poszukiwaną i uprag-

---

*) Scipion Sighele, młody włoski uczony, oddający się specyalnie studyom nad systemem terapeutyki i represyi w zastosowaniu do nowych doktryn kryminalistyki włoskiej zwrócił na siebie ostatniemi czasy powszechną uwagę zwłaszcza oryginalnemi pracami w dziedzinie psychologii i suggestyi. Klasyczne dzieło jego „La Foule criminelle“ (zbrodniczy tłum), przełożone w lot na wszystkie prawie europejskie języki, w radykalny sposób zmienia dotychczasowe pojęcia o zbrodniach lub raczej wybrykach tłumu i wytworzyło już nawet odrębną szkołę kryminalistyczną. O „fizyologii“ powodzenia — pisał S. Sighele w jednym z ostatnich zeszytów paryzkiej „La Revue des Revues.“

---

ski małe i szczypały ją po nogach, — wtedy nadstawiała im rogów, broniąc się w ten sposób od natrętów. W końcu stanęła przed zapartą furtką w okólniku. który otaczał chatę Janowej. Zaryczała, jakby wołając gospodyni, i oglądała się wkoło. otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

Zamknięte wszystko? To ją niepomiernie dziwiło. Na jej powrót czekała już zwykle Janowa, a przed chlewikiem leżała wiązka zielenizny w płachcie szarej, przysposobiona dla poczciwej siwuchy. Krówka zaglądała ponad opłotkami, czy nie obaczy leżącego przed chlewikiem zielska. Doprawdy nie ma. Obejrzała się więc w lewo i w prawo i zaryczała żałośnie.

Byłaby dzisiaj długo czekała, gdyby nie wracająca z pola Staśka, córka Janowej. Wracała w gronie dziewcząt od dworskiej roboty; z daleka było je słychać po pieśniach wesołych, któremi rozbrzmiewał sobotni wieczór.

Każda z nich przy swojej zatrzymała się chacie. Staśka doszła w końcu sama do chałupy matczynej, stojącej na końcu wsi. — Grabie jej sterczały wysoko, trzymała je, jak żołnierz broń, na ramieniu oparte.

Zobaczywszy siwuchę, stojącą przed okólnikiem, i ona była zdziwioną nieobecnością matuli. Otworzyła furtkę i przytrzymała tak długo ręką. aż siwucha nie przebiegła jej, puszczając się cwałem z miejsca.

Potem weszła do sieni chałupy, powiesiła grabie na kołku, na ścianie i otworzyła drzwi do izby.

Na środku stał caganek oskrobanych kartofli, matuli nie było.

Pośli po zielsko pono, — mówiła do siebie.

Zrzuciła chustkę wzorzystą z głowy i przygładziła ręką potargane przy robocie jasne jak len włosy, upięte nisko. Potem spuściła fartuch, przewiązany dolnemi rogami w pasie, aby jej nie przeszkadzał przy robocie w polu.

W tej samej chwili zawarczał wóz fornalski przed chatą. Szybko przypadła z boku do okna i wyjrzała na drogę. Na wozie stał młody chłopak a przed jej oknami palnął dwa razy ze sążnistego bata; głowę przechylił przytem i zaglądał do jej okienka, pogwizdując jakąś piosenkę. Wracał już od stogu pono.

Schowana tak, że jej dojrzeć nie mógł, przyglądała mu się. Zaśmiała się w końcu do siebie, pokazując dwa rzędy białych, zdrowych zębów, otoczonych purpurowemi ustami.

— Swarny chłopczyna, a jużci swarny, — mówiła do siebie. — Potem ująwszy się pod boki, stanęła na środku izby w wyzywającej postawie.

Nie mogła mu zapomnieć, że wczoraj, gdy z nim układała snopki na furze, objął ją w pas i wycałował na oba policzki. Niby że wycałował, to jeszcze nic, ale tak przy wszystkich ludziach!

— A heretyk jeden, — a! — odgrażała się. — Czekaj, już ci sa odpłacę, wciorności cię wezmą.

— A jednak swarny chłopczyna — przyznała cichutko i z rozkosznym uśmiechem.

Wybiegła z chaty i namyśliła się chwilę, czy wydoić krowę, czy zostawić ją matuli.

— Kiej jak, — namyśliła się w końcu — bez zielenizny stać nie będzie, ni jak. Przystąpiła więc do opłotków i oparła się na nich, założywszy ręce na piersiach krągłych i wychylając się na drogę, czy nie ujrzy matuli. Nie było nigdzie widać Janowej, tylko na drodze od miastecyka zobaczyła starego Walentego. Wracał, dźwigając na plecach w koszu krytym zakupna.

— Cie, Cie, Staśka, znów chłopców wyglądasz?

Wyglądałam za wami, stęskniłam się już docna.

— Niech będzie pochwalony, — i przystanął przy opłotkach, zesuwając czapkę ciężką z czoła.

— Na wieki.

— Kiej się stęskniłaś, mogłaś przyjechać po mnie, choć w siwuchę swoją i taczką.

— Moglišta przysłać telegramę, byłabym przyjechała.

— Taj ja pukał na szosie.

— Cie, ja myślała, że to grzmi pono.

nioną. A tylko „masa“ udzielić go może. Dokazać tego, iżby świat mówił o tobie i rozprawiał o twoich pomysłach, czy dziełach — to nietylko płytkie, zwyczajne marzenie nadętych próżnością miernot, ale to zarazem wielki, godziwy ideał najskromniejszych i najpotężniejszych myślicieli. Różnica, dzieląca te dwa rodzaje ideałów, leży jedynie w środkach, jakiemi się kto posługuje, aby dojść do wytkniętego celu.

Andrzej Sperelli, bohater Gabryela d'Annunjio, który tylko o tem marzy, aby wydać książkę w jednym egzemplarzu i zadedykować ją jednej jedynej kobiecie, iżby reszta świata nie wiedziała, co on napisał, to typ — może prawdziwy — ale z pewnością bardzo nieprawdopodobny i arcy wyjątkowy. Zdarzy się czasem, że ktoś, namiętnością porwany, dla jednej osoby polaryzuje całą swą moralną i intelektualną żywotność. Atoli, jak sama namiętność tak i to jest rzeczą egzotyczną i chorobliwą. Czas i lekarze pracują na leczeniem takich objawów patologicznych.

Każdy, kto nie jest szaleńcem lub dziwakiem, chce i pragnie, aby książka jego była czytaną, sztuka oklaskiwaną, obraz lub rzeźba podziwiane, pokłada bowiem w „filistrach“ nadzieję, że o pracy jego, myślach i walce przychylny werdykt wydadzą...

* * *

Publiczność zresztą, — czy kto chce, czy nie chce — jest Minosem naszego piekła... czy czyśćca ziemskiego. Ona to sądzi i wyrokuje w pierwszej i ostatniej instancyi, ale jej sposób sądzenia jest rozmaity, a tak samo sąd jej bywa mniej lub więcej dokładny i ścisły, w miarę tego, czy wydawany zbiorowo i jednocześnie, czy w odosobnieniu i w przeciągu czasu mniej lub więcej długiego. Chcę przez to powiedzieć, że publiczność wezwana do oświadczenia się o jakimkolwiek płodzie ducha, może być rozproszoną lub w jednem zgromadzoną miejscu, albo przedstawiać organizm zbity, nazywany tłumem.

Nie sądzi się nigdy o książce tak, jak o mówcy. Książka dostaje się do rąk czytelników rozproszonych, a każdy z nich w spokojnem zaciszu swego pokoju — może sobie sam z własnego popędu szczere wyrobić o niej zdanie. Przeciwnie, sztuki scenicznej słuchają razem zebrani widzowie, którzy na temat wartości utworu radzą się wzajemnie i doradzają sobie w sposób bezwiedny, tworząc zbiorowo potwór o tysiącu głowach, który zda się stawia biednemu autorowi straszny dylemat:

— Baw mnie, rozerwij, albo cię pożrę.

Rzecz jasna, że w pierwszym i drugim wypadku warunki sądzenia są odmienne. Któryż sąd lepszy?

Zanim na to pytanie odpowiem, zastanówmy się nad inną kwestyą.

Czy poddawałeś kiedy czytelniku pod analizę chemii psychologicznej owe niepohamowane wybuchy entuzyazmu, które w teatrze lub na sali zasypują nieraz huraganem oklasków koniec jakiejś dramatycznej sceny, lub ostatnie słowa płynnie wygłoszonej mowy? W takiej chwili publiczność sądzi i wierzy, że jest sprawiedliwą i szczerą, gdyż istotnie doznaje tego wzruszenia, które na zewnątrz oklaskami objawia. Czy jednak wyłączna w tem zasługa dramatu lub mówcy, który wprowadza słuchaczy — czy widzów w istny stan entuzyastycznego szału, czy też przeciwnie może — nie wchodzi tu w grę jakiś inny czynnik, który wywołał szumienie tego tęgiego wina?

Nikt nie przeczy psychologicznemu prawu i stwierdzonej po nad wszelką wątpliwość prawdzie, która orzeka, że siła wzruszenia rośnie w prostym stosunku do liczby osób, podlegających temu wzruszeniu w tym samym czasie i na tem samem miejscu.

Alfred Espinas w swem dziele o społecznościach zwierzęcych (Des sociétés animales), spróbował zjawisko to określić matematycznie.

„Przypuśćmy — powiada on — że wrażenie, wywołane jakąś mową, można oznaczyć cyfrą 10 i że przy pierwszych słowach mówcy, przy pierwszym dźwięku jego wymowy, wrażenie to udziela się przynajmniej w połowie swej siły każdemu ze słuchaczów, których niechaj będzie 300. Indywidualna reakcya u każdego słuchacza objawia się w oklaskach lub w zdwojonym natężeniu uwagi, — i nastąpi to, co się w sprawozdaniach dziennikarskich nazywa poruszeniem (sensacyą). Poruszeniu temu ulegną wszyscy naraz, albowiem każdy słuchacz pozostaje również jak mówca — pod wpływem audytoryum i wyobraźnię każdego opanuje nagle widok tych trzystu osób, rażonych wzruszeniem, widok, który musi w nim, według dopiero co przytoczonego prawa — wywołać wzruszenie istotne, prawdziwe. Przypuśćmy, że on ulegnie tylko w połowie temu wzruszeniu — jakiż będzie wynik? Doznane przez słuchacza wrażenie — wyrażać się będzie w cyfrze — już nie 5, ale w połowie tej cyfry, pomnożonej przez liczbę wszystkich słuchaczy (300), — czyli w cyfrze 750.“

Obliczenie to starczy chyba za dowód, że wszelkie sądy z tłumu wychodzą fatalnie przesądzone, gdyż indywidualne wrażenie słuchacza podnosi się do najwyższej potęgi przez sam fakt współobecności innych indywiduów.

W tym wypadku jest liczba najważniejszym i głównym mnożnikiem powodzenia, którego sama wprawdzie nie stwarza, wszelako utwierdza je i podnosi do rozmiarów, nieraz zgoła nieprawdopodobnych.

* * *

Czytelnikom znany jest zapewne list Estery Balzaka, tego nieczułego i zepsutego dziecka, które pod wpływem miłości oczyszcza się i z upadku dźwiga, — list, pisany przez śmiercią do jej kochanka. Dziewczyna odbiera sobie życie, gdyż sprzedała się Nucingenowi dla Rubempré'a, cenę tego targu, 750,000 franków pozostawia swemu poecie, i choć stoi już nad grobem, — nie chcąc go smucić, żartuje:

— Kto też, jak mnie nie stanie, przyczesywać ci będzie przedział na głowie?

Powiadają, że Balzak, czytając ten list głośno, nie mógł powstrzymać łez, cisnących mu się do oczu ze wzruszenia.

Ileż to razy każdemu z nas — choć nie jesteśmy autorami, — zdarzyło się coś podobnego po przeczytaniu jakiego wznioślejszego ustępu.

Jednakże ta fala wzruszenia, która z wezbranego serca pochodzi i która, gdybyśmy się znajdowali w teatrze lub na sali tłumem publiczności zapełnionej, byłaby przez samą zaraźliwość doprowadziła w jednej chwili do szału oklasków, tak — rozlewała się wyłącznie po naszej duszy i między czterema ścianami naszego pokoju.

Autor książki nie widzi i widzieć nie może o tych odosobnionych objawach, bo nie zna tego rozproszonego tłumu, który go podziwia i uwielbia, — a tak samo jak nie słyszy głosów indywidualnych, tak też wspaniały, zbiorowy głos go nie dochodzi. On nie może być nigdy, — jak mówca lub autor dramatu, albo melodramatu ogniskiem, które zestrzeli i skupi w jednej chwili wszelkie wrażenia, doznane przez setki słuchaczy, z których każde znowu potęguje się stokrotnie w swej istotnej sile, przez sam fakt obecności innych słuchaczy, — i dla tego to Balzak, który bezprzecznie jest jedną z największych postaci naszego wieku, nie zakosztował nigdy tej gwałtownej i wzniosłej rozkoszy, jaką sprawia widok szalejącego z entuzyazmu tłumu, powalonego u stóp jednego człowieka, a jakiej zaznali inni, którzy nigdy nie byli tego warci.

* * *

Chłop zaśmiał się na całe gardło, i ruszając dalej, mruczał jeszcze do siebie.

— Pyskata dziewucha, — o! —

Staśka wyglądała dalej na drogę i namyślała się, co robić. Po chwili ode wsi zobaczyła gromadkę dzieci, wracających z gęśmi i trzodą do domu. I Antek, brat jej dziewięcioletni, był pomiędzy niemi, pędząc maciorę z licznem potomstwem, i może z tuzin gęsi.

— Antek, a matuś kaj, nie wiesz? — zawołała na niego z daleka.

— A kaj, pośli zielsko rwać.

— A czy idą do dom, nie wiesz?

— Juści idą.

Chłopak wpędził trzodę do chlewika i, smagając batem ziemię, stanął potem przed siostrą.

— Staśka, daj chleba — rzekł.

— A nie wiesz sam kaj jest?

Nie czekał drugiego wezwania, podskoczył do chaty i wyszedł po chwili z kawałem czarnego chleba.

Tymczasem Staśka rozmyślała: Kiej matuś niedaleko, taj wrócą w czas. A ja co tu stać będę, chyba po wodę poletę do studni.

Zdawało jej się to bardzo rosądnem, — zwłaszcza, że przy studni, kto wie... Uśmiechnęła się do siebie i po chwili już dźwigała na ramionach szuńdy z dwoma kubełkami do wody.

Idąc do studni, na dworskie podwórze, musiała przejść wieś całą, na której drugim końcu znajdowały się zabudowania folwarczne.

Gdy szła, za każdym jej krokiem kołysały się kubełki próżne w lewo i w prawo, targając przytem z głuchym szczękiem za łańcuchy, na których wisiały.

Gdy weszła na podwórze, aż jej serce zatłukło w piersi z radości, nie omyliła się w nadziei, przy studni już stał, czerpiąc wodę, Antek niecnota.

Miał nogawki tak podwinięte poniżej kolan, jak kobiety rękawy zawijają przy praniu. Pomimo zwinnej i zgrabnej postawy był niskiego wzrostu, a twarz jego, podobna do twarzy dziewczęcia, wyglądała tak, jak u chłopca lat kilkunastu.

Na usta Staśki chciał się koniecznie wykraść uśmiech rozkoszny, właściwie przebaczyła mu już wszystko, nie mogła jednak mu okazać tego.

— Wciorności cię wezmą — szeptała, schylając głowę, jakby go nie widziała wcale.

Za jej nadejściem właśnie odstawiał drugi kubeł nabrany, mógł już wracać do koni, trzymało go jednak na miejscu. Stał niepewny, czy zacząć rozmowę, czy też odejść i nie drażnić zagniewanej.

— A niecnota, pomyślała Staśka, umyślnie puścił drąg żórawia, który teraz wysoko wisiał w powietrzu, że ledwo dostać go mogła. Spięła się na palce i ręce wyciągła, jak mogła najwyżej.

Piersi jej przytem wypukłe, przykryte koszulą białą, wystąpiły naprzód i zdawały się posuwać wyżej; korale zabrzęczały krzyżami mosiężnemi i medalionikami, a wykrochmalona bielizna zachwaszczała na jej ramionach i piersiach.

Chłopakowi aż krew stęgła w żyłach, podskoczył i chciał jej pomódz.

— Idź precz, — rzekła, odwracając się od niego i odtrącając go łokciem.

— Czy to grzech, że ci chcę pomódz, abo co? — spytał, stając na boku.

— Grzech, kiej ja nie chcę, — odparła, zanurzając kubełek we wodzie.

— Taj cóż, ksiądz grzech odpuści, a ty nie?

— Jużci ja nie ksiądz.

Westchnął i stając na uboczu, między dwoma kubłami swemi, skubał róg krótkiej katanki.

Gdy już napełniła obydwa kubły i miała odchodzić, zachaczając łańcuch szuńd o pałąk żelazny, odezwał się w końcu:

— Staśka...

A cóże?

Przerwała robotę swą i stanęła wyprostowana, patrząc mu w oczy.

— Staśka, co ja ci zrobił, żeś taka pyszna i harda dla mnie, przecież...

Inna więc rzecz — działać na tłum w jednem zgromadzony miejscu, a inna — oddziaływać na rozproszoną publiczność. Co lepsze?

Z podmiotowego stanowiska sądząc, nie umiałbym powiedzieć. Odpowiedź zależy od temperamentu i usposobienia danej jednostki. Niektórzy lubią się rozkoszować i napawać krzykami tłumów, inni wolą w sposób pośredni odbierać świadomość podziwu i uwielbienia, jakiemi ich darzy publiczność. Mascagni i Zola mogą w równej mierze zadowolnić swą próżność czy dumę godziwą: pierwszy patrząc własnemi oczyma na epileptyczne ataki entuzyazmu, które porywają wiedeńczyków podczas przedstawienia „Rycerskości Wieśniaczej“ lub „Przyjaciela Fryca“, drugi, gdy od swego wydawcy Charpentier'a — otrzymuje wiadomość, że dzieło jego „La Debacle“ w przeciągu kilku miesięcy rozeszło się w liczbie stupięćdziesięciu tysięcy sprzdanych egzemplarzy. Oto dwa plebiscyty różne w objawach i formie, — podobne w skutkach i sile.

Ze stanowiska przedmiotowego nie ulega wątpliwości, że werdykt, wydawany przez publiczność rozproszoną, jest pewniejszy i bardziej zbliżony do prawdy.

Wykazałem już, że sąd tłumu bywa zawsze przesadzony przez sam wpływ liczby, która z konieczności podnosi dyapazon zdań indywidualnych, branych z osobna. Sądzę, że nie pomylę się, twierdząc, że sąd ten bywa też dość często błędnym. Psychologia zbiorowa rzadko kiedy powoduje się logiką i zdrowym rozumem. Sposobność, zbieg okoliczności, przypadek, nieświadomość sprowadzają najczęściej jej objawy. Jeden okrzyk, jeden gest, wykonany przez jedno indywiduum, zmusza do powtórzenia tego samego okrzyku lub gestu — wszystkich. Zaraźliwość oklasków — lub objawów niezadowolenia jest iście gromowładną, — tak jak u ptaków w locie najmniejsze uderzenie skrzydeł jednego wywołuje u wszystkich ruch analogiczny.

A wówczas wypływający w rezultacie z tego wyrok, który uważamy zwykle za sumę wszystkich sądów indywidualnych, — jest tylko sądem jednego — jedynego człowieka, który skutkiem ukrytego działania suggestyi — stał się nagle przypadkowym, chwilowym despotą dla całego tłumu.

„Odczuwam wstręt do tłumu — pisał biedny Guy de Maupassant — nie mogę po prostu wejść do teatru ani być obecnym na żadnem publicznem zebraniu. Napada mnie tam natychmiast dziwna niemoc, ogarnia nieznośne, straszne osłabienie, jak gdybym całą siłą walczył z jakimś wpływem. I walczę w rzeczywistości z duszą tłumu, która usiłuje na wskroś mnie przeniknąć...

Najbardziej znamiennem i zadziwiającem zjawiskiem, powstającem w tłumie, jest właśnie to zniszczenie odrębnych, indywidualnych osobowości i zlewanie ich w jedną — jedyną osobowość ogromną, a różniącą się od każdej z tych, które je składają. Możnaby powiedzieć, że każde indywiduum utraca swą zdolność myślenia i czucia, że staje się ślepem narzędziem jakiegoś nieznanego mózgu, nieznanej duszy. W tłumie każdy klaszcze i syka, woła *vivat* lub *pereat*, — niejako bez świadomości tego, co czyni. Wyprowadźcie tego człowieka z tłumu, wyrwijcie go z tego mrowiego roju, a sam pierwszy zdziwi się temu, co robił przed chwilą.

Dodajmy do tego uwagę, że wszelkie manifestowanie się geniuszu przed tłumem połączone jest z wielkiem niebezpieczeństwem. Psychologia zbiorowa — podobna w tem do psychologii kobiecej (najmocniej przepraszam za to szanowne czytelniczki), wytworzyła się z najokrutniejszych sprzeczności. Potrafi ona przechodzić, albo raczej przeskakiwać gwałtownie z jednego uczucia w drugie, wprost przeciwne tamtemu.

Aktor lub mówca, który źle jedno słowo wygłosi, może, wywołując w najpoważniejszym momencie bezlitościwy wybuch śmiechu, fatalnie skompromitować całą tragedyę lub mowę. Dramat, który zaczyna się jakimś dziwnym, frazesów pełnym okresem, albo który grą słów tylko dopomaga sobie, może być pewny, że daleko nie zajdzie.

Śmieszność w takich wypadkach zabija wszystko, sławę nawet. Cokolwiek o tem powiedziećby mogła pani de Staël.

Czyż więc warto mieć jakie zaufanie do werdyktów tego stulecia?

* *

Bystry i subtelny krytyk mógłby zarzucić, że to odróżnianie sądów tłumu zbitego i opinii publiczności rozproszonej jest raczej iluzorycznem, a nie opartem na realnych podstawach, że mogłaby tu ostatecznie być mowa o rozmaitych stopniach jednej i tej samej rzeczy, a nie o istotnej różnicy dwóch rzeczy odrębnych.

Niewątpliwie o książce jak i o dramacie sąd wydawany bywa zbiorowo, przez suggestyę. Ani oklaski, ani sykanie o upadku lub powodzeniu dzieła nie rozstrzyga, ale artykuł tego lub owego publicysty, który w tym lub innym sensie oddziała na setki i tysiące czytelników. Społeczeństwo, w którem żyjemy, ono także, jak tłum jest organizmem, który idzie za danym popędem, które pójdzie za tym, kto da znak poruszenia się i łatwo daje się hypnotyzować temu, kto najgłośniej krzyczy lub temu, kto wyższe w społecznej hierarchii zajmie stanowisko.

Kto mniema, że opinia publiczna, to siła wypadkowa zbiorowego rezultatu wszystkich sądów i zdań, a nie wynik sądu jednego człowieka lub kilku, którzy innych za sobą porwali — ten oddaje się złudzeniu, gdyż domniemana swoboda i własnowolność sądzenia w rozproszonej publiczności jest naszem zdaniem tylko zarozumiałą illuzyą.

Taka krytyka, zresztą być może sprawiedliwa, w części zaledwie osłabia moje konkluzye.

Pewną jest rzeczą, że dla książki zbiorowy werdykt formuje się powoli, w tem rozumieniu, że rozproszeni czytelnicy wrażeń swych wzajemnie sobie udzielają i że indywidualne zdania zlewają się w jedno, podobnie jak poszczególne nuty w jeden akord się łączą. Ale tam zgodność tonów stopniowo się raczej wytwarza, godząc i łącząc opinie ważniejsze, a tem samem mniej łatwe do zmiany, nie doprowadza zatem do wrzaskliwego wybuchu nieświadomej psychologii zbiorowej.

Gdyby to porównanie nie było trywialne, powiedziałbym, że w takich razach indywidualne każdego zdanie musi się z konieczności trochę modyfikować i zmieniać przez zetknięcie się ze zdaniami innych — tak, jak ruchy każdego człowieka muszą, czy to w sali, czy na ulicy, czy wreszcie gdziekolwiek na świecie ulegać mimowoli pewnym ograniczeniom wskutek obecności lub starcia się z innymi osobami. Przeciwnie zaś w sądzie raptownie i jednocześnie wydanym przez tłum, czy to publiczności w teatrze, czy jakiegokolwiek innego zgromadzenia zachodzi istna „obstrukcya“ intelektualna i psychologiczna, która przeszkadza wszelkiej własnowolności myślenia i czucia, podobnie jak w zbitym tłumie ludzi bezpośrednie zetknięcie się ciał nie tylko ogranicza, ale bezwzględnie uniemożliwia fizyczne ruchy mięśni każdego.

Dla tego to tak samo, jak człowiek woli znajdować się wśród ludzi niż w tłumie, powinien też przekładać sąd ludzi nad opinią tłumu.

Dr. E. A.

— Coś mnie zrobił? A wczoraj heretyku jeden, a co?

— Taj cóże? czy co złego, żem cię pocałował se przy ludziach?

— Nic złego? — Nic złego, że teraz powiedzą, że mnie każdy chłopak całuje? — Widzicie go?

— Kiej powiedzą, to ich sa zadławię własnemi palcami.

Zahaczyła szybko kubły do szuńd i odwróciła się, odchodząc. Tak było jej go żal, tak żal.

— Staśka... powtórzył wtedy, podchodząc kilka kroków do niej.

Zwróciła się na miejscu, aż woda wybryzgła z jej kubłów.

— Będziesz czekała dziś za mną na wieczór, Staśka?

Odwróciła się znowu, nic nie odpowiadając.

— Staśka, powiedz, — naglił, idąc za nią.

— Przyjdź, to obaczysz. W jego oczach zabłysły płomienie jakby tryumfu.

Była zła na siebie, że mu tyle powiedziała. Nie mogła jednak panować tak okrutnie nad sercem, które omało, że nie wyskoczyło jej z piersi do niego.

— Kiejby miód, chłopak, kiejby miód. — szeptała, uśmiechając się do siebie rozkosznie.

Schyliła głowę zupełnie i dreptała szybko drobnemi krokami, aby nie porozlewać wody.

Wtedy, gdy już była blisko chaty, ujrzała, podniósłszy oczy, matulę, wchodzącą we furtkę zagrody z ogromną płachtą zielska na plecach.

— Cie, matuś, coście bywali tak długo? zawołała z daleka jeszcze.

— Po zielsko byłam i zapóźniłam się ksynkę, — odparła Janowa, zrzucając płachtę z pleców i rozpościerając ją przed chlewikiem.

Była niskiego wzrostu i dość tęga, po włosach ciemnych i oczach czarnych, lśniących jak dwa węgle pod łukami brwi, poznać było można, że kiedyś była bardzo piękną.

Więc gdy mąż jej umarł przed czterema laty, mówili ludzie, że Janowa jeszcze chłopa znajdzie, mówili nawet, że już znalazła, ale cztery lata minęły, a Janowa jeszcze nie zaczęła go szukać.

Gdy usiadłszy na stołku, doić krowę zaczęła, padł jej wzrok na krzyż przed chatą, stojący wewnątrz okólnika przy drodze.

Cały był zarosły powojem, tak, że nigdzie wśród zieleni drzewo nie wyglądało. Tylko na lewem ramieniu opadły łodygi chwiejne, i było widać kilka gwoździ, do których były przymocowane. Wiatr je zerwał pono lub deszcz silny.

(Dokończenie nastąpi.)

SZCZĘŚLIWY.

(MONOLOG.)

Marcelemu Trapszo ofiaruje
Autor.

Proszę mi się przypatrzyć z bliska i z daleka,
Jak wyglądam, zkąd wracam, gdzie idę, co robię,
Wszystko to warto wiedzieć, bo wystawcie sobie,
Że szczęśliwego teraz widzicie człowieka.
A takich dzisiaj, wierzcie, bardzo, bardzo mało,
Bo szczęście, djabli wiedzą, gdzie powędrowało.
Jam je wreszcie pochwycił w chaosie i tłumie, —
Ten znajdzie, kto szukać umie.

Właściwie... to ja dzisiaj dla tego jedynie
Przyszedłem, by nie robić zawodu ninomu
Z publiczności szanownej. — Lecz czy dobrze czynię,
Że z podwiązaną twarzą ruszyłem się z domu?
Nie wiem! a i w dodatku z kulejącą nogą.
Dlaczego tak się stało, dowiedzieć się mogą
Wszyscy, bo to nie sekret i nie żadne dziwy:
Po prostu jestem szczęśliwy.

Nie mówię tego wcale z ironią, broń Boże!
Powiadają, że szczęścia nikt zdobyć nie może,
A ten, co życie swoje całe za nim goni,
Męczy się tylko biedak, i celu nie dopnie.
Bajki! dowiodę państwu jasno jak na dłoni,
Że ja jestem szczęśliwy, szczęśliwy okropnie.
I to szczęście się wzmaga, rośnie z każdą chwilką,
No! proszę, słuchajcie tylko.

Wład. Podkowiński.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Nazwisko wysoce utalentowanego artysty dobrze jest znane inteligentnemu ogółowi, który cenił tę niezaprzeczenie wybitną indywidualność. Sam chory, stargany trapiącą go niemocą, miał Podkowiński również fantazyę choć bujną, przecież chorobliwą bardzo. Ulegał on wrażeniu, nie poddając krytyce jego wartości, tworzył pod wpływem tego wrażenia bez względu na to, czy pomysł wart był wcielenia. Impresyoniści francuzcy oddziałali na wrażliwą wyobraźnię artysty, zaczął też malować impresyonistyczne obrazy.

„Taniec szkieletów“ świadczy najwymowniej o rodzaju talentu Podkowińskiego: jakąś ideę cierpienia, bólu — jakąś poezyę burzliwą odtwarza w tem dziele artysta. Coś niezrozumiałego, a przecież do głębi przejmującego widzimy w tym utworze, poczętym w usposobieniu niewątpliwie smutnem, w rozpaczliwej rozterce ducha.

„Artysta ten — mówi Piątkowski w swej książce o współczesnem malarstwie — dla wywołania efektu nie zawahał się ani na chwilę, aby na rozbujałej tylko imaginacyi oprzeć stronę wykonawczą swojego dzieła“.

Był to romantyk w sztuce z pewnem uprzedzeniem, z pewną z góry powziętą myślą, z pod której przewagi nie mógł się wydobyć.

A „Szał“ — ów obraz, który artysta pociął nożem w kawały, czyż nie jest dowodem tego samego romantyzmu, m[illegible]cego w sobie coś z nieokiełznanej, wybuja[illegible]czości?

Fakt pocięcia obrazu przej[illegible]mutkiem zwolenników i przyjaciół talentu artysty...

Była to zapowiedź końca. Organizm stargany chorobą piersiową słabł, wola z sił opadała, myśl się ćmiła, — aż przyszła śmierć, która uwolniła artystę od cierpień.

Władysław Podkowiński niemal w młodzieńczym wieku zmarł przed kilku dniami, szczerze smucąc tych, co cenili bardzo wybitny talent i prawość szlachetnego charakteru artysty.

Przez czas pewien był Podkowiński stałym rysownikiem „Kuryera Codziennego“ i „Tygodnika illustrowanego“.

* * *

Kiedym spotkał Podkowińskiego w kilka dni po pocięciu w kawałki „Szału“, owocu kilkomiesięcznej pracy, wystawionej w salonie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, upoważniony przyjaznem stosunkiem, jaki mnie łączył z utalentowanym artystą, zapytałem go:

— Powiedz mi pan, panie Władysławie, dla czego zniszczyłeś pan „Szał“?

— Bo mi się nie podobał — odparł Podkowiński ze zwykłym spokojem i uśmiechem na ustach. — Na razie — ciągnął dalej — zdawało mi się, żem stworzył istotnie dzieło sztuki, potem zauważyłem w nim pewne braki, przytem kilku krytyków...

— Ależ wszyscy prawie chwalili „Szał“.

— Nie wszyscy... Zresztą, głupstwo, teraz wezmę się na nowo do roboty, mam nową myśl!...

W kilka miesięcy potem ukazały się na wystawie nowe drobniejsze prace Podkowińskiego, które już malował pod pseudonymem Ansgarego, a jednocześnie z pracowni artysty dochodziły wieści o nowych, większych, świeżo rozpoczętych pracach.

Ciężka niemoc jednak wytrąciła pendzel z jego ręki; od sześciu tygodni nie podnosił się z łóżka, i wreszcie zasnął na wieki.

Wieść o śmierci utalentowanego i lubianego powszechnie artysty rozeszła się lotem błyskawicy, koledzy-malarze i przyjaciele pospieszyli zaraz złożyć wyrazy współczucia matce, którą pozostawił.

I ja pospieszyłem z innymi. Podkowiński zmarł w tem samem mieszkaniu, w którem powstał „Szał“ i wiele innych prac artysty. Mieszkał on razem z matką, pracownię zajmował na trzeciem piętrze, w domu Kossakowskich na Nowym Świecie. Po krętych, wąskich schodach dostałem się na dobrze znajomą mi górkę... Nic się tu nic nie zmieniło, pracownia robi wrażenie, jak gdyby artysta dopiero co złożył paletę i pendzel, nawet farby na nich jeszcze nie obeschły...

Na środku stoją na stalugach dwa duże obrazy, przysłonięte zupełnie. To ostatnie, niedokończone jeszcze prace Podkowińskiego. Jeden obraz większych rozmiarów, przedstawia „Zmartwychwstanie“, drugi, prawie zupełnie ukończony — „Marsz żałobny Szopena“.

Wziął się więc, jak zapowiadał, do pracy na nowo — lecz nie było mu sądzonem dzieł tych dokończyć...

Szkoda, wielka szkoda! *K. C.*

Warszawa w styczniu.

Prywatne stosunki z muzą.

(Ciąg dalszy.)

W pierwszej chwili zrobił na mnie wrażenie warszawskiego urzędnika: coś suchego widziałem w jego twarzy, wcale nie pociągającej za pierwszem wejrzeniem. — Siedząc zdala, nie słyszałem o czem mówi, ale byłem przekonany, że jest jak i ja gościem u malarzów, że chce być rozmownym i hojnie ich uraczyć nowinkami z nad Wisły, ale że sobie pewien przymus zadaje.

I dziś, choć go poznałem potem dokładnie, nie wątpię, że był wówczas nienaturalny. A choć okazało się, że i z tytułu swego ogromnego talentu i dawno już zarobionej sławy, miał zupełne prawo najwięcej w tem towarzystwie gadać i rej wodzić, to jednak nigdy nie mógł pozbyć się pewnej pozy, nienaturalności — on, co naturę uważał za jedynego Boga sztuki. Inaczej być nie mogło. Czuł swą wyższość — a oni nie wszyscy i niechętnie mu ją przyznawali. Wiedział, że go niektórzy, np. ów znany nam zgniłek w bawełoku, podszytym wiatrem, krytykuje w cichości ducha, żeta lub inna chwila milczenia może być brzemienna lekkiem szyderstwem. — Bo to kółko nie lubiło, żeby im imponować, raz dla tego, że przychodziło dla całkiem swobodnego wytchnienia, a powtóre, że tyle już w swoim życiu napatrzyli się dobrych rzeczy, iż ich byle czem wzruszyć nie tak łatwo było. Gdym n. p. ja wracał, — w pierwszych zwłaszcza czasach — z glaspalastu oczarowany, oszołomiony, z bólem głowy, oni śmiali się i w drodze szczególnego ustępstwa zgadzali się pochwalić jedno — dwa płótna, na trzy tysiące. I to bez wszelkiej fanfaronady; po prostu przejedli się.

Takie jarmarki jak Monachium, działają dwojako. Wprzód zachęcają względną łatwością zbytu i dobremi warunkami pracy, wystawami pierwszorzędnych, czasem nawet genialnych dzieł; ale potem zniechęcają, straszą, odbierają ufność we własne siły, przygniatają masą rzeczy nowych i oryginalnych, to znów pospolitują sztukę zalewem miernoty pokupnej. Artysta przestaje być arystokratą, wybrańcem, skoro widzi dokoła tysiące kolegów i krocie obrazów.

Byli oni wogóle dosyć zimni i względem wielkości zblazowani, gdy on nosił w swem

---

Raz w lecie patrzę, słońce świeci cudnie,
Śliczna pogoda, ciepło, więc w samo południe
Idę sobie na spacer Wtem koło fontanny,
Patrzę, stoją znajome, bardzo ładne panny,
Jedna z nich już mi nawet grzecznie główką kiwa,
Podchodzę z galanteryą, aby się ukłonić,
Nagle wicher kapelusz z głowy mi porywa,
Fatalność! zaczynam gonić.

Leci, leci jak kula w kręgielni rzucona,
Ja za nim, a tuż za mną jakiś pan z pomocą
Pędzi także, właściwie djabli wiedzą po co.
Próżno do kapelusza wyciągam ramiona.
Niewdzięcznik nie uważa na przechodniów krocie,
Co się z tej awantury już za boki brali,
Toczy się coraz prędzej, znika coraz dalej,
Nurzając się w miękkiem błocie.

Już byliśmy na placu, gwałtu! jeszcze troszkę,
Jeszcze chwilka, a wpadnie bestya pod dorożkę.
Dałem susa jak tygrys krwiożerczy i dziki,
Kiedy chwyta ofiarę. — Wtem, jak mnie coś palnie
W plecy, ażem podskoczył... dyszel naturalnie!
Lecz słyszę dookoła radosne okrzyki:
A to szczęście prawdziwe! Bogu składaj dzięki
Żeś nie złamał nogi, ręki.

Kapelusz znikł na zawsze jak senna widziadło,
To było pierwsze szczęście, jakie na mnie spadło.
Lecz od tej pory... klnę się, przysięgam na głowę...
Nie ma dnia, by mnie szczęście nie spotkało nowe,
A chociaż na wrażenia nic nie jestem chciwy,
Wychowany w spokoju, cichości, pokorze,
To nieraz ze zdziwieniem wołałem: O Boże!
Za co ja taki szczęśliwy?

Raz w dzień majowy, gdy gasły promienie
Słońca i ptaków ozwało się pienie,
Zapachem fiołków, róż ukołysany,
W kraj do tej pory wkroczyłem nieznany,
Czyli mówiąc tak, aby wszyscy rozumieli
Zapałałem miłością ku pani Adeli
I w myślach moich wciąż ją nazywałem
Moim pierwszym ideałem.

Czy to jest szczęście? Tak by się zdawało.
Ona dość mnie lubiła, lecz to wszystko mało,
Dopiero, kiedy mąż jej pewnego poranku
Prosił mnie bardzo grzecznie, bym poszedł do siebie,
Bo może innych środków spróbować w potrzebie,
I zawołał na schodach: „Masz szczęście kochanku.
Żem ci żeber nie złamał!“
Leciałem jak z procy,
A było już po północy.

Ciemności dookoła! Niech cię piorun trzaśnie!
Myślę sobie: Naprawdę! całe szczęście właśnie,
Bom o tak późnej porze nie spotkał nikogo.
Trochem się tylko potłukł, ale swoją drogą
W czepkum się rodził. Gdyby tak kto inny,
Ale bez apelacyi, winny czy niewinny,
Jużby leżał zabity. Ja się nic nie boję!
A od czegoż szczęście moje?!

Kuleję wprawdzie trochę, ale cóż u djaska?!
To jeszcze nic tak złego, a od czegoż laska.
Gorzej było z zębami. Ta sprawa ołowiem
Cięży mi na sumieniu, — w krótkości opowiem.
Było już szaro, — patrzę... panny idą same...
Nie wypada, nie ładnie, trzeba iść za niemi,
Już zaczynam rozmowę... Wtem spostrzegam mamę
I tatko wyrósł z pod ziemi.

No! potem, potem... to był dramat cały,
Już na samo wspomnienie dębem stają włosy,
Dość! że mnie strasznie zęby rozbolały,
A tatuś za mną krzyczał w niebogłosy:
„Masz szczęście łotrze, żeś nie posiekany!“
O! ja wiem: Ci ojcowie to zbóje... tyrany!
Że mi się tak udało, to już cud prawdziwy.
Jaki ja jestem szczęśliwy!

Cherchez la femme! panowie, o! tak, prawda święta,
Nierozważni, co prawem tak rozumnem gardzą,
Gdyby nie piękne panie, gdyby nie dziewczęta
Czy byłbym tak szczęśliwym? wątpię, wątpię bardzo.
A trzeba państwu wiedzieć, że ja Donżuanem
Strasznym jestem — i nawet szczycę się tem mianem
Ja tylko na kobietę spojrzę i już w sidle!
Czasem tam która powie słodziutenko „Bydlę!“
Lecz któżby od płci pięknej żądał grzecznych słówek!?
A szczególniejsze szczęście mam do pokojówek...
Przedwczoraj właśnie miałem rendez-vous z Brygidą.
Rączęta ma czerwone, ale jakie oko!
Ledwom przyszedł, a ona krzyczy: „Państwo idą!“
Nie namyślam się długo i przez okno w drogę.
No! szczęściem naturalnie nie było wysoko,
Więc tylko zwichnąłem nogę.

Chciałem się ustatkować i ożenić wreszcie,
Bogato naturalnie, bo miłość bez grosza,
Cóż warta? panna miała tysięcy ze dwieście,
O! tak miała na pewno...
Dostałem odkosza.
Arbuzik jak to mówią... Na nic wszystkie plany!
Lecz cóż? przyszły wyścigi, rauty, bale, stroje...
Majątek fiut! a do mnie mówią: „Mój kochany!
Ten arbuz to szczęście twoje!“

Doprawdy, niech mi państwo zawierzą na słowo,
Chociaż żadnych dać na to nie mogę dowodów,
Ile razy w latarnię uderzyłem głową,
Ile razy formalnie leciałem ze schodów,
Ilem razy się topił... Nie! ja sam się dziwię,
Jak się to wszystko składało szczęśliwie,
A są tacy co dotąd utrzymują przecie,
Że niema szczęścia na świecie!

Wincenty Rapacki (syn).

wnętrzu niewygasający ogień zapału. Ich ambicya może kiedyś wzlatywała wysoko, ale teraz miała skrzydła obcięte albo biedą, albo obczyzną sfery, albo owym nieustającym właśnie turniejem malarzów z całego świata. On udawał także zobojętnienie, ale mocą prawa wybitnych indywidualności, nie był jeszcze spożytym mimo rozczarowania, walki i upokorzenia. Dwojako bowiem działa także świadomość, że się przyszło artystą na świat, nie potrzebujący sztuki, albo łakomy tylko na jej falsyfikaty: słabszych i delikatniejszych ubezwładnia, silnych rozgoryczając, wścieka i rozżarza namiętnością walki.

Niekiedy nawet trochę ich demoralizuje. *On* tak dobrze poznał publiczność polską, a właściwie warszawską, że jej nigdy nie wierzy, ani wtedy, gdy ona chwali, ani gdy gani. Wie, że u nas trzeba być przedewszystkiem modnym, że to się każdemu udać może i że moda trwa krótko. Toć i jego nie rozumiano dla tego, że nie lubił robić z obrazu wzruszającego melodramatu z przeszłości, albo nawet z teraźniejszości, a potem od razu, jednym zamachem, zrobiono laureatem, okrzyczano tryumfatorem realizm, ażeby wkrótce znowu o nim zapomnieć. To nawet nie jest tyle modą, ile raczej wybuchem słomianego zapału. W tem jesteśmy silni.

Kiedy się zdarzyło otrzymać jakiś warszawski medal temu, co to nosił swoje oczy na końcu nosa — zdaje mi się, że tak go właśnie charakteryzował oryginał niniejszej sylwetki — *on* zaczął mu dogadywać na wpół żartem, na wpół seryo, o znikomości naszych uwielbień, o tem jak nieraz są one bezzasadne i poddane myślom przez reklamę albo przez prowodyrów stada.

— I pan myślisz — mówił — że oni o panu będą pamiętać bodaj do jutra? tylko żółtodziób może miewać takie złudzenia. Niech się panu nie zdaje, że oni sami coś o tym medalu wiedzą — ot, zwyczajnie! bydło, musiało sobie bryknąć, więc i brykneło i rezultatem tego bryknięcia jest pańskie odznaczenie.

Cały prawie wieczór zeszedł na podobnych perswazyach, a kiedyśmy się rozchodzili, czułem, że właściciel medalu ma się za zbrodniarza, za oszusta i fałszerza, i że zamiast wyciągnąć rękę po przysądzoną mu nagrodę, powinien iść czemprędzej i oddać się w ręce policyi...

Inni złośliwie się o tym posępnym trzeźwicielu odzywali — a ja? wiedziałem, że przez niego przemawia żółć nawpół zmarnowanego artysty, ale nie ukrywałem też przed sobą, że to zazdrość, niepohamowana ambicya, która w swem samolubstwie nie użyczy nikomu nawet jednego listka wawrzynu i pragnęłaby dla siebie wszystko, wszystko zagarnąć.

Uważam nieraz, że gdy kto u nas naprawdę jest znakomitym, staje się prędko barbarzyńcą, dzikim. Może to brak wyrobionej opinii sprawia, może i za słaba styczność z cywilizowanym światem, który nawet geniuszom nie pozwala na samowładztwo, może rozpryśnięcie się wyższej, twórczej inteligencyi na drobne wysepki, rządzone przez kacyków, dość, iż talentowi najczęściej wtóruje u nas jawna albo ukryta arogancya i wyniosłość, zawiść, niechęć dla młodych, że mogliby zdetronizować starych, w ogóle — nieżyczliwość. Spojrzyjcie na nasze świeczniki litrackie. Tożby oni się wzajem w łyżce wody potopili. I prędzej czy później taka znakomitość skazaną zostaje na samotność, jałowieje przedwcześnie; doskonaląc się artystycznie, zatraca jednocześnie czucie i ciepło, staje się połyskliwą i tęczową jak bryła lodu na słońcu, ale i jak lód zimną... Tego nie zna ani Francya, ani Anglia, ani Włochy.

Nie chcę ja przez to powiedzieć, że wolę ambicyę średnią, małą. Nie, taka lubi nie przebierać w środkach wybicia się na wierzch i zgnębiania rywala. Wielka zaś chodzi często w parze z wielką naprawdę indywidualnością, z wysoką miarą, stosowaną nie tylko do innych, ale i do siebie. A więc i on nie wypuści ze swej pracowni nic płytkiego. Prędzej, jeśli niezadowolony, zniszczy lub spali, ale nie sprofanuje swego ideału, nie zniży się do poziomu przeciętnego.

I oto zabawne powstają sprzeczności.

Cezary Jellenta.

(Dokończenie nastąpi).



ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA

Kraków, 8 stycznia.

(Ś. p. jenerał Suchodolski. Zbiory hr. Czapskiego. Starcie wyznaniowe w Radzie miejskiej. Dymisye. Bank krajowy. Br. Helfert o Krakowie. Dobre wiadomości.)

Ze śmiercią ś. p. Suchodolskiego, jenerała wojsk austryackich, ubyła naszemu miastu osobistość dosyć typowa. Potomek rozgałęzionej i bogatej rodziny, mając zaledwie lat 16 wstąpił do ułanów podczas toczącej się walki w roku 1831. Później go widzimy w kampanii węgierskiej, a wreszcie zdobywającego sobie coraz wyższe stopnie w kawaleryi austryackiej. Przed laty mniej więcej dziesięciu, otrzymawszy rangę jenerał-majora wystąpił z armii, jako już starzec 70letni. Zdawałoby się, iż długoletnie przebywanie w wojsku austryackiem, zdala od kraju, w otoczeniu niemieckiem duchem i językiem, powinno było polskiego ułana przerobić na całkowitego austryaka. To też, kiedy go poznałem, niezwykłą przyjemność sprawiła mi jego czysta, dźwięczna, niczem nie skażona mowa polska. Co więcej, miałem sposobność poznania, iż w jenerale austryackim biło serce prawdziwie polskie, że obchodziły go wszystkie nadzieje i marzenia naszego społeczeństwa, że każdą sprawę publiczną brał gorąco do serca, że interesował się nietylko sprawami krajowemi ale i miejskiemi, co wszystko dowodziło, że podczas swego wojskowego zawodu nie zrywał nigdy nici ze swoim krajem i społeczeństwem. Zmarły był blisko spokrewniony z ministrową Zaleską, a syn jego rodzonego brata jest introligatorem.

Donosiłem przed paru miesiącami, iż hr. Czapski przenosi swoje cenne muzeum do Krakowa. Przybyło ono już przed kilku dniami w 131 pakach, zawierających numizmaty, medale, konchy, starą porcelanę, starodawne zbroje, meble gdańskie itd. Do zbiorów tych należy i zamożna biblioteka, w której jest wiele dzieł pochodzących ze słynnej, a zrabowanej biblioteki Załuskich, znajdującej się w Petersburgu. Właściciel tych zbiorów nabył pałacyk od spadkobierców Humberta Krasińskiego, w którym sam ma zamieszkiwać, połączywszy go krytą galeryą z gmachem, jaki wystawi na pomieszczenie muzeum.

Rozeszła się pogłoska, że Siemiradzki zgadza się na objęcie dyrekcyi Szkoły sztuk pięknych. Być może, ale ośmielam się wątpić.

W Radzie miejskiej wynikło niespodziane starcie na gruncie wyznaniowym. Jeden z radców czuł się obrażony, że chrześciański „komitet głodnych dzieci" w odezwie swojej, wspominając o bezimiennych swoich przeciwnikach, zaznaczył, iż smutnym ich tryumfem jest fakt udzielenia pożywienia 150 dzieciom chrześcijańskim z funduszu komitetu żydowskiego, opiekującego się głodnymi dziećmi izraelickiemi. Pomijając już to, że w ustępie odezwy, o którym mowa, trudno się dopatrzeć chęci obrażenia uczuć żydowskich, trudno pojąć, co wspólnego mogła mieć Rada miejska z tą sprawą, ażeby ją przed jej forum wytaczać. Owocem tej nieuzasadnionej drażliwości była dyskusya, po której dopiero obrażony mógł rzeczywiście czuć się obrażonym. Zyskały jednak na tem niefortunnem poruszeniu sprawy, dzieci chrześciańskie, gdyż jeden z współwyznawców obrażonego postawił wniosek, aby Rada podwyższyła subwencye chrześciańskiemu komitetowi głodnych dzieci. Posiedzenie Rady, na którem rzecz się toczyła, nietylko na tym punkcie było dość burzliwe, zaraz bowiem po dyskusyi wyznaniowej wyproszono ze sali „arbitrów" i na tajnem posiedzeniu przyjęto rezygnacye z urzędu dyrektora budownictwa z przyznaniem mu emerytury i udzielno dymisyi jednemu z najwybitniejszych radców magistratu i jednemu z komisarzy obwodowych, bez przyznania im prawa do pensyi emerytalnej. Tajemnica pokrywa szczegóły dyskusyi, po której powzięto taką energiczną uchwałę. Wiadomem jest tylko, że na decyzyą Rady wpłynęła sprawa głośnych bardzo nieporządków i niewłaściwości w załatwieniu kwestyi budowniczych przez magistrat. Pisałem o tem w swoim czasie dość szczegółowo, kiedy zawalenie się jednej z budowanych kamienic odkryło różne tajniki budowania domów w Krakowie. Niemając materyału przed sobą, nie jestem w stanie ocenić, o ile kara dotknęła prawdziwie winnych. W każdym razie musiała być przeciw niej opozycya, jeżeli radcy miejscy wbrew swojemu zwyczajowi zostawali na posiedzeniu aż do godziny 11 wieczorem, nie zważając na niepokój swoich połowic, które ich zwykły po każdej sesyi Rady widzieć już o godzinie 8 wkraczających w progi domowe dla rozgrzania się ciepłem ogniska domowego.

Mających pieniądze do ulokowania, a jeszcze więcej pragnących je ulokować we własnych kieszeniach, ucieszyło otwarcie filii Banku krajowego w Krakowie. Filia ta będzie uprawiała te wszystkie działy, jakie uprawia instytucya centralna we Lwowie, z wyjątkiem działu hipotecznego. Dyrygentem filii jest pan Mieczysław Sędzimir, prezesem rady nadzorczej pan Karol Scipio. Jedno z pism w nagłówku artykułu o otwarciu i poświęceniu filii banku popełniło omyłkę nazywając go *Rankiem* krajowym. Oby omyłka ta ziściła się, oby bank rzeczywiście stał się *rankiem* polepszenia interesów finansowych mieszkańców Krakowa.

Zanim to nastąpi, pocieszamy się na razie pięknem świadectwem, jakie złożył baron Józef Helferth troskliwości Krakowian o zachowanie Bramy floryańskiej z jej barbakanem, pospolicie rondlem zwanym, a będącym klejnotem średniowiecznej sztuki fortyfikacyjnej. „Brama ta, pisze uczony baron w kwartalniku „Mittheilungen", pozostanie po wszystkie czasy widomym znakiem i pomnikiem historycznym i artystyczno-technicznym pełnej treści przeszłości miasta, które wskutek troskliwej czci, z jaką zachowuje tak liczne swoje szanowne starością zabytki budownictwa, jest bodaj najbardziej interesującem miastem środkowo europejskiego wschodu."

Składki centowe na Wawel według ostatniego obliczenia wynoszą 13,000 złr., w którą to sumę nie wchodzą składki zbierane przez komitet lwowski, oraz ofiary składane w dziennikach na odnowienie katedry. — „Czas" drukuje w swoim odcinku „Ryndzię", nowelę pozostałą w papierach po śp. Waleryi z Soleckich Błotnickiej. — „N. Reforma" pomieszcza w odcinku „Mogiłę", świetnie skreślony obrazek Maurycego Zycha, drukowany poprzednio w „Przeglądzie Poznańskim." — Pan Erazm Jerzmanowski nadesłał sumę 1200 złr. na ręce Adama Asnyka, przeznaczoną na różne cele publiczne i filantropijne; największa kwota przypada na gimnazyum w Cieszynie. — Wojciech Gerson listem otwartym zachęca uczcić setną rocznicę działalności Wojciecha Bogusławskiego wystawieniem mu pomnika na placu przed nowym teatrem krakówskim. — Już kilka Rad powiatowych przy uchwaleniu swego budżetu wstawiło do niego kwoty na powiększenie funduszu zakupna domu Jana Matejki. — Członkowie świeżo założonej czytelni ruskiej wybrali komitet zarządzający; do klubu tego wpisało się 40 członków.

Zniknął z bruku krakowskiego p. Jakób Glikson, były dyrektor teatru krakowskiego: zniknięcie jego ma związek z wykryciem prywatne-

go domu gry, w którym niemądrych amatorów zdobycia łatwym sposobem fortuny ogrywano przy pomocy kart znaczonych.

K. Bartoszewicz.

Ze Szlązka polskiego.

(*Nowe wydawnictwa. — Kościelski Ślązakiem. — Aklimatyzacya Hanse-Kene-Tide-Manów na Ślązku. — Nareszcie i „Katolik przemówił.*)

Niemieckie Centrum, karmione dotąd piersmi Polskiego Ślązka, poczyna ząbkować, bo piersi te raz po raz kąsa i rani. Chwilami przychodzi bystre to dziecię do przekonania, że niesforne jego postępowanie mogłoby być ukaranem odsadzeniem od piersi i dla tego czasem uśmiecha się dobrodusznie. Matka tego dziecięcia, książęcabiskupia kapituła we Wrocławiu, w obawie karmicielki, postąpiła tym razem w pensyi niezadowolonej mamce. Od nowego roku wychodzić będzie z ramienia stolicy książęcobiskupiej we Wrocławiu tygodnik religijno-obyczajowy i kościelny w języku niemieckim i *osobno w polskim* pod tytułem „Posłaniec Niedzielny dla dyecezyi Wrocławskiej, organ związku św. Rodziny.“ Księża z ambon rozgłaszają entuzyastycznie narodziny nowego pisemka, a lud wierny spieszy, nie z mirą ani kadzidłem coprawda, lecz za to ze złotem. Zbyt gorliwego mecenasa polskości w „Posłańcu Niedzielnym“ się nie spodziewamy, wszakże chociaż życzenia niekoszlawej polszczyzny z okazyi noworocznych powinszowań nie zawadzą.

— Piękną gwiazdkę odebrał Ślązk z Mikołowa od firmy wydawniczej Karola Miarki we formie nowego pisma pod tytułem: „Przyjaciel Rodzinny“ z dodatkiem „Kronika Tygodniowa.“ Numer okazowy wcale dodatnie robi wrażenie. Druk piękny, liczne i jak na wydawnictwo ludowe bardzo pięknie wykonane ilustracye, tudzież język nieskażony, stanowią ozdobną szatę zewnętrzną, a treść zastosowana do wymagań tutejszych jest umiejętnie dobraną. Jedna powieść z czasów apostolskich, druga pióra Xaw. Fr. Tuczyńskiego, udatna kolenda na Boże Narodzenie, rozprawka na temat o socyaliźmie chrześcijańskim i pijaństwie, humoreska z życia rosyjskiego obok dowcipów warszawskiego kroju, są zdolne bytomskiemu „Światłu“ niebezpieczną wytworzyć konkurencyą. Brak tejże konkurencyi pozwalał „Światłu“ zwolna przygaszać, przeto spodziewać się należy, że „Przyjaciel Rodzinny“ przerwie tę drzemkę i że przy uczciwej rywalizacyi czytelnicy zyskają niemało. Podobnie jak „Przyjaciel Rodzinny“ na belestrykę ślązką, tak dodatek jako „Kronika Tygodniowa“, podziała na tutejsze pisma polityczne pobudzająco. Pierwszy numer przynosi udatnie wykonane portrety ks. Hohenlohego i Mikołaja II, a oryginalne korespondencye z Poznania i Westfalii dowodzą, że redakcya zrozumiała, iż wiadomości z polskich okolic poza granicami Ślązka są Ślązakom pożądańsze i pożyteczniejsze, niż sprawozdania z odpustów i ciekawe przygody drapichrustów lokalnej natury. Rubryki pod tytułem „poradnik lekarski“ i „poradnik gospodarczy“ zasługują również na uznanie. Korespondentowi z Poznania do „Kroniki“ nie zaszkodzi ściślejsze przestrzeganie swego tematu t. j. spraw poznańskich, a unikanie n. p. porównań oświaty i dojrzałości politycznej ludu ślązkiego, a ludu z Księztwa. Przebija tam bowiem pewna nieznajomość ślązkiego ludu na niekorzyść Wielkopolski, bo o chęć schlebiania Ślązakom pana korespondenta posądzać nie mamy zamiaru.

— Ponieważ już mowa o Poznaniu, trudno pominąć „Gońca Wielkopolskiego“, który w numerze świątecznym istotnie odświętną przybrał szatę pod względem zewnętrznego wyglądu jak również co do treści i objętości. Wrodzone każdemu człowiekowi samolubstwo kazało i nam tu oczywiście w pierwszej linii zajmować się korespondencyą z Górnego Ślązka pióra p. Br. Koraszewskiego. W korespondencyi tej brzmi nuta dziwnie serdeczna. Dumny być może Ślązk z tego, co o nim donosi, a wdzięczny panu K. za tę miłość gorącą do ludu ślązkiego, bijącą z każdego słowa korespondencyi. Lecz wybaczcie małe uchybienie. Widzę z przytoczonych tam przecudnych melodyi biblijnych, że p. Józef Kościelski, którego dotąd uważałem za czystej krwi Wielkopolanina, jest Górnoślązakiem.

> A jeśli Ciebie zapamięta
> Jeruzalem, moje serce itd.

jest bezprzecznie pióra p. Kościelskiego, a przecież mówi korespondent, że to Górnoślązki śpiewak tak miłość swoją wyraża. Poetą jako Górnoślązakiem chciałbym się popysznić, lecz politykiem — a! może dla tego nam go tu odstępujecie?... Nie wiem, co drudzy na to powiedzą, bo mało jakoś zaufania budzi import tego rodzaju.

— Spisali się niedawno temu Katowiczanie, którzy pragnąc nowości, zapisali sobie z Poznania Hanse—Tide—Kenemanów, osławioną trójkę Bismarkowską. Wielka ztąd radość w Izraelu: był nawet na część tych Manów komers wspaniały i jak za dawnych dobrych czasów: „mastgefüllte deutsche Eber.“ Telegram zokomunikował wieść radosną o założeniu towarzystwa dla popierania niemczyzny w Katowicach żelaznemu emerytowi w Friedrichsruh, sprowadzając na odwrót błogowieństwo jego na głowy obrońców ojczyzny w Katowicach, oraz zaklęcie zapożyczone od pana Kościelskiego:

> Wyniszcie lud ten w posadach
> I ziemię jego spustoszcie
> Tak, aby na jego śladach
> Wyrastał oset przy oście!

Toż i zakończyć wypadnie słowami poety z Karczyna, bo któż lepiej odpowie na pytanie: A my co na to?

> A my się Panu korzyli
> I ufaliśmy mu zawsze,
> Czyli ciemięży nas, czyli
> Okaże lica łaskawsze.
> Bo wiemy, że nasze domy,
> Że nasze łany i pola,
> To jest dobytek znikomy,
> I Boża nad nim jest wola.

Najpobożniejszemu na Ślązku „Katolikowi“ sprawa katowicka tak żółć wzburzyła, że wziąwszy na odwagę, nie w domyślnikach, jak dotąd bywało, lecz gołosłownie i bez zastrzeżeń przedrukował wierny zasadzie, że mądrość narodów mieści się w przysłowiach, nasze stare lecz nieomylne:

> Póki świat światem
> Nie będzie Niemiec Polakowi bratem.

Czytając tak niezwykłe słowa, obejrzałem się poza siebie i spiesznie schowałem papier do kieszeni, by snadź jaki policyant szelma nie przyaresztował „Katolika.“ Uszło jakoś tym razem.

Chim.

NA WYŁOMIE.

(*Curiosum dziennikarskie. Rozczulająca scena w teatrze. Łyki na galeryę! Kontrybucya i jej następstwa*).

Wyśpiewano na cześć pani *Modrzejewskiej* tyle prawdziwych i podrabianych pieśni słowiczych, że mówiłem sobie nieraz: „Koniec! Temat wyczerpany!“ Dziś jednak po przeczytaniu poznańskiej korespondencyi do „Czasu“ nowa otucha w serce me wstępuje. Znany kronikarz miasta naszego, przetapiający w petersburskim „Kraju“ i krakowskim „Czasie“ lojalne formułki swoje na kopiejki i centy, — kronikarz owładnięty takim wstrętem do wszelkiego kalibru „ludowców“ i „narodowców“, że gdy maleńki pinczer z redakcyi „Gońca Wielkopolskiego“ szczeknie na ulicy, lub roznosiciel „Orędowników“ kichnie energicznie, to pan korespondent smaruje trzyłamowy artykuł o nowych demonstracyach „warchołów“ i „szowinistów“, — ten historyczny Domarat, Wojnicz, Pełka i Gwiazdka w klamerkach (*) odkrył w pani Modrzejewskiej takie czarnoksiężnictwo, o jakiem Europa nie wiedziała jeszcze. Mówią wprawdzie myty starogreckie, że Orfeusz wzruszał kamienie, a słynny Arion rozczulał delfiny, ale nie słyszałem dotychczas nigdy, aby wielkie artystki przywracały harmonię w społeczeństwie rozdartem, łączyły powaśnione stronnictwa i tak rozrzewniały upartych „ludowców“, że z okrzykiem „Pater peccavi“ na ustach idą do Canossy. A przecież cudu takiego dokaże „*Ona*“, — tak powiedział poznański korespondent do krakowskiego „Czasu“, zapowiadając gościnne występy pani Modrzejewskiej. *Ona* nietylko z monotonnej codzienności dusze nasze w krainy piękna zawiedzie, lecz pogodzi p. Dobrowolskiego z p. dr. Szymańskim, „Gońca“ z „Kuryerem“, Kościelskiego z Czarlińskim. Chwila jeszcze, a ujrzycie cudy prawdziwe. Pani Modrzejewska wstępuje na deski jako Marya Stuart, oczy jej łzami nabiegają, głos brzmi jak harfa Eola. Wtem krzyk straszny na wyżynach piętra drugiego. Zeskakuje pan Knapowski z całym sztabem ludowych żołnierzy i woła: „Zgrzeszyłem, lecz ślubuję wam pokorę i posłuszeństwo!“ Następuje scena pojednania: „Postęp“ ściska się z „Dziennikiem“, ks. Jeżewski z dubeltówki całuje pana Offierskiego, loże pierwszego piętra biją brawo, muzyka gra „Jeszcze Polska nie zginęła“, niech żyje pani Modrzejewska!

Tak w „Czasie“ krakowskim wróży [illegible] „Gwiazdeczka“ z całą powagą polityczne[illegible] billi. Wybaczy mi jednak pan Korespondent, że ośmielę się za proroctwem pięknem położyć znak zapytania. Gdyby tak jeszcze pani *Ludowa* zawitała powtórnie do miasta naszego, to przez sympatyę dla nazwiska, które domorosły etymolog gotów skombinować z magnetycznym wyrazem „ludowa“, rozczuliłoby się może stronnictwo „Orędownika“ i „Postępu“, przebaczając za sprowadzenie takiego gościa wszystkie winy panu Dobrowolskiemu, ale pani Modrzejewska mimo całej potęgi talentu swojego tego zaiste nie dokaże. Przeciwnie! Niepokoi mnie jakieś głuche przeczucie, że przyjazd wielkiej heroiny w społeczeństwo skołatane rzuci ferment nowy, — nie z winy artystki, lecz z winy teatralnych wielkorządzców. Dopóki bowiem na scenie naszej nie zabłyśnie która z wielkich gwiazd wędrownych, panowie ci służą na dwóch łapkach przed publicznością poznańską, śpiewając hymny na cześć „ofiarnego mieszczaństwa“, ale niechaj tylko do nas zawita jaka Modrzejewska, wnet miny hardzieją i obywatelstwo miejskie uchodzi w oczach różnego gatunku Kacyków za intruzów z pod ciemnej gwiazdy, którym bilet rzuca się jak z łaski: Toż sekretarz teatralny, p. Fjałkowski, rozkrzykuje publicznie po winiarniach, że „loże pierwszego piętra rezerwować trzeba dla *szlachty*, a dla *łyków* jest drugie piętro i galerya.“ Wymieniłem umyślnie nazwisko nowoczesnego arystokraty, aby skłonić go do głębszego uzasadnienia zdumiewającej maksymy, i oświadczam z góry, że redakcya „Przeglądu“ gotową jest każdej chwili udowodnić autentyczność charakterystycznego okrzyku.

Zresztą dochodzą mnie z stron najrozmaitszych posłuchy, że sama dyrekcya nie tai się wcale z zasadą „forytowania prowincyi“, a „stały przyjaciel sceny“, — nie ten, który w Dziennikowych rubrykach składek na fundusz żelazny zapisuje co tydzień 20 fenygów, lecz ten wielki tłum poznańskiego mieszczaństwa, który przez sezon cały zapełnia loże i krzesła, — zadawalniać się musi rolą biednego kopciuszka. A przecież bez tych pogardzanych „łyków“ scena narodowa poszłaby w rozsypkę, bo minęły już dawno owe piękne czasy, w których braciaziemianie zajeżdżali czterokonnemi karetami przed gmach teatralny. Dziś obywatelstwo wiejskie, zgnębione fatalną presyą stosunków

i wycieńczone materyalnie, tylko przy nadzwyczajnych okazyach zjawia się w lożach i krzesłach, a scena poznańska opiera się nieomal wyłącznie na barkach mieszczaństwa. Nie chciałbym, aby posądzono mnie o niechęć dla ziemian poznańskich, bo ani jednej chwili nie zapominam o tem, że na ofiarności tej właśnie warstwy opierał się długo byt najpoważniejszych instytucyi filantropijnych i artystycznych, ale czasy zmieniły się z błyskawiczną szybkością i z metamorfozą taką liczyć nam się wypada. W niemieckich piwiarniach wyraz „Stammgast“ jest czarnoksięzkiem zaklęciem. Ono podwaja gorliwość służby, ono zapewnia uprzywilejowane stanowisko „stałym“ lubownikom jednego kącika i jednego piwa, lecz miasto Poznań, ten „Stammgast“ teatru, otrzymuje za „stałość“ swoją tylko gorzkie pigułki: „Łyki na galeryę“!

Nie przypuszczam, aby dyrekcya teatru nie zdawała sobie sprawy z krzywdy wyrządzanej mieszczaństwu, ale całe nieszczęście polega znowu na fatalnej kolizyi zarządu sceny i redakcyi „Dziennika Pozn.“ — dwóch urzędów w jednem połączonych ręku. Kierownik organu, założonego przez ziemian, opierającego się wyłącznie nieomal na sympatyach prowincyi i stojącego na straży przywilejów ziemiańskich, charakter swój ujawnia również w teatralnych manipulacyach i proteguje „uprzywilejowanych“ „Dziennika“ w przybytku sceny narodowej. Być może, że postępowanie takie służy interesom naczelnego redaktora i organu jego, ale nikt chyba wątpić nie może, że teatrowi zagraża ono ruiną. Ostrożnie z ogniem, panowie! Byt sceny poznańskiej opiera się na mieszczaństwie; a jeżeli ta żywa kolumna usunie się z obawy przed nową porcyą pigułek, wtedy gmach ukochany runie niezawodnie.

Przy tej okazyi niepodobna mi zamilczeć powszechnych skarg i żalów, wywołanych niezwykle wysoką kontrybucyą, nałożoną na lubowników teatru z powodu przyjazdu pani Modrzejewskiej. Dyrekcya raczyła ceny wyśrubować do tego stopnia, że społeczeństwo tak finansowo wyczerpane, jak nasze, zupełnie słusznie przeciw niezwykłej taksie protestować może. Wiem, że kasa teatru w bieżącym sezonie pracuje bezustannym nieomal deficytem, — rozumiem także, że dyrekcya uchwyciła się pani Modrzejewskiej jak ostatniej deski ratunku, ale przekonany jestem, że wysokość kontrybucyi opiera się na fałszywych kalkulacyach. Siła atrakcyjna wielkiej artystki jest zbyt wielką, aby teatr miał świecić pustkami, lecz skoro gość nasz opuści mury Poznania, nastąpić musi smutny czas pokuty, bo publiczność, wyssana finansowo, omijać będzie mury teatralne. Przykład lwowskiego teatru powinien być dla dyrekcyi naszej nauką. I tam pani Modrzejewska wypełniła pustki kasowe deszczem guldenowym, ale gdy świetna gwiazda zniknęła z horyzontu, grano cztery tygodnie nieomal przed pustemi krzesłami. Lękam się, aby teatr poznański podobnego nie doznał losu i, skoro po latach tłustych chude nastąpią, nie stanął w położeniu wcale niewesołem.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Klemens Junosza. „Żywota i spraw Imć pana Symchy Borucha Kaltkugla ksiąg pięcioro.“ — Warszawa, Teodor Paprocki i Sp. 1895.

Wielkiego talentu nowellista, doskonały znawca języka, obyczajów i spraw proletaryatu żydowskiego w Polsce, Klemens Junosza, przedstawił w tej najnowszej swojej książce życie przeciętnego żyda, jego wychowanie, wpływy, działające nań w młodości, oraz sposób zarobkowania. Głębsze spostrzeżenia i wcale poważne, choć nieco jednostronne poglądy na sprawę żydowską ujął on w właściwą sobie formę humorystyczno-satyryczną, niepotrzebnie tylko styl opowiadania mieni się archaizmami biblijnemi, to znowu zwrotami pisarzy naszych z końca XVII wieku. Cokolwiekbądź, z całości tryska — jak zwykle — niepospolita siła dowcipu i artyzmu, na wskroś oryginalnego a tak pięknie wyróżniającego autora z pośród innych młodych pisarzy polskich.

* * *

Oskar Lenz. Do wybrzeży Azyi wschodniej. Wrażenia turysty. Przełożył S. Stetkiewicz. Warszawa, 1894, str. 136.

Oskar Lenz przepłynął Suez, zawadził o Indye wschodnie i zwiedził miasta portowe Chin i Japonii: Hongkonk, Kanton, Jokohamę, Tokio, Osakę i Kioto. Spostrzeżenia jego nie odznaczają się ani głębokością poglądów, ani malowniczością obrazów, posiada wszakże zaletę prostoty i lekkości, zakrawającej niekiedy na dowcip, a niekiedy na naiwność. Tocząca się w ziemi Mandżu wojna nadaje tej książce wartość bieżącą. Przekład miejscami chroma pod względem czystości i jasności stylu.

* * *

G. Sennewald. Słońca blaski i krople deszczu. Warszawa 189[illegible].

Książeczka to bardzo odpowiednia dla małych dzieci, które się dopiero czytać nauczyły. Ozdobiona ładnemi, w części kolorowanemi obrazkami, zawiera wierszyki małe, gładkie i zupełnie dla dziecięcych umysłów przystępne. Treść ich, wzięta wyłącznie z życia drobnej dziatwy, odpowiada naiwnym pojęciom czytelników tego wieku. I zewnętrzna forma również zastosowana do potrzeb najmłodszego pokolenia. Druk wyraźny, układ obrazków prosty i papier gruby, co też nie jest bez znaczenia — dla małych niszczycieli.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Prezes koła polskiego w sejmie pruskim, p. Stanisław Motty, ogłasza, że pierwsze posiedzenie koła odbędzie się w czwartek 17 stycznia. — Z Berlina donoszą, że na wieczorku parlamentarnym cesarz wcale niedwuznacznie zapowiedział nowe postulaty finansowe na powiększenie marynarki. Posłem z okręgu żnińsko-wągrowiecko-mogilnickiego obrano p. Karola Szczanieckiego 226 głosami. Kandydat niemiecki Davier otrzymał tylko 110 głosów. — Z Warszawy donoszą do pism wiedeńskich, że car Mikołaj powołał pp. Wielopolskiego, Potockiego, dr. Baranowskiego i Blocha celem zasięgnięcia od nich informacyi o życzeniach i położeniu kraju. — „Köln. Volksztg.“ twierdzi mimo półurzędowego zaprzeczenia, że pomiędzy cesarzem Wilhelmem a królem wirtemberskim przyszło podczas ostatnich manewrów do nieporozumień. — Na sejmiku powiatu śremskiego napiętnował hr. Adam Żółtowski z uznania godną energią antipolskie „Towarzystwo szerzenia niemczyzny“ i członków jego.

Zjazdy i kongresy. Walne zebranie poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk odbędzie się 23 b. m. Na porządku dziennym jest wybór prezesa. — W Moskwie w 1897 r. odbędzie się zjazd międzynarodowy lekarzy.

Teatr i muzyka. Pani Modrzejewska rozpoczęła szereg gościnnych występów na poznańskiej scenie. Obszerną recenzyę pióra Dr. W. Rabskiego zamieścimy w przyszłym numerze. — W dniu 8 stycznia, na przedstawieniu opery „Pajace“ w czeskiem „Divadle“ był obecnym kompozytor Leoncavallo. — Na scenie teatru lwowskiego wystawiono komedyą z niemieckiego p. t. „Wybory do rady miejskiej.“ — Pani Modrzejewska wystąpi na poznańskiej scenie w sztukach następujących: Barbara Radziwiłłówna, Marya Stuart, Gniazdo rodzinne, Adrienna Lecouvreur, Fedora, Makbet, Mazepa, Walka kobiet. — W Paryżu otwarto jeszcze jeden wolny teatr p. t. „Théêtre de l'Ere nouvelle“ — W dniu 21 stycznia pojawi się na scenie lwowskiej słynna komedya p. t. „Madame sans gêne.“ — Najbliższą nowością warszawskiego teatru Rozmaitości będzie komedya Bałuckiego p. t. Ciepła wdówka. Próby już rozpoczęto. — W „Deutsches Theater“ w Berlinie, odbywają się próby z najnowszego utworu Ibsena p. t. „Mały Eyolf“. — O tłomaczeniu komedyi Sudermanna p. t. „Walka motyli“ wydała krytyka warszawska sąd nader ujemny. Tłomacz, p. Gabryel Kempner, w liście otwartym broni się przeciw zarzutom recenzentów, podnosząc z naciskiem, że komedya realistyczna nie znosi rzeźbionego języka, a gdzieniegdzie wymaga nawet pewnej trywialności zwrotów. — Polska trupa dramatyczna zajechała po wielu zwłokach i kłopotach do Petersburga i zapowiedziała na 26 bm. pierwsze przedstawienie.

Fiasco i klapa. Kiedy Bliziński usłyszał lub wyczytał, że sztuka zrobiła „fiasko“, zżymał się poczciwiec i gderał: jak wy mówicie, po jakiemu wy piszecie? fiasko to flaszka, cóż to więc ma znaczyć: sztuka zrobiła flaszkę? Zmiłujcie się, nie zanieczyszczajcie języka takiemi dziwolągami — wstydźcie się, pfe! wy — literaci!“

I miał zupełną słuszność niezapomniany autor „Pana Damazego“. Fiasko to taki brzydki chwast na niwie naszego języka, że wyplenić go gwałtem należy.

Ale coby powiedział Bliziński, gdyby żył i, wziąwszy do ręki numer jednego z najpoczytniejszych pism naszych, przeczytał w korespondencyi wiedeńskiej, że „sztuka X. poniosła klapę“. A tożby biedak skoczył z oburzenia i zgodził się może nawet przeprosić brzydkie fiasko za niegościnność.

Bo jeżeli fiasko brzydkie, to klapa nietylko brzydka, ale i ordynarna, kto tak pisze, ten nietylko kazi język, ale wprowadza do niego gwarę ulicznikowską, knajpową.

Ach! bodaj raz, ale to na zawsze, klapnęli tacy korespondenci! K. B.

Na półkach księgarskich pojawiła się Gothowska „Ifigenja w Taurydzie“ w świetnym przekładzie Jana Kasprowicza. Jest to niewątpliwie najlepsze z wszystkich dotychczasowych tłomaczeń.

Humorystyka

W „fin de siecle'u“ proszę pani
Dziwna rządzi praw zawiłość:
Serc w małżeństwie wcale nie ma,
Interesem zaś jest miłość.
Wszelkie flirty, oświadczyny,
To czynniki wielkiej blagi,
Najważniejszą zaś rękojmią
Szczęścia w życiu są .. posagi.
Młodzież nasza „na psi“ zeszła,
Dam nie bawi, no, i przytem,
Przy kolacyach się odznacza
Iście wilczym apetytem...
Ni do tańca, ni różańca,
Nie jak dawniej było zwykle,
W zaniedbaniu są dziś panny,
A w estymie zaś — bicykle;...
Zblazowane miejskie „tschoki“
Dziś w odrębnej żyją sferze,
Z monoklami w ślepych oczach
Pędzą życie przy pilznerze.
Jak się taki pan oświadcza
Ubóstwianej swej dziewicy:
To powiada: — Kocham panią,
Ja — i moi dwaj wspólnicy!...
Zbankrutował przeto Amor
Z swojem sercem cichem, szczerem.
I, jak mówią, to na giełdzie
Doskonałym jest meklerem...

Zmarli:

Prof. Wilhelm Arndt, znany historyk niemiecki zm. w Lipsku 10 stycznia.

Tadeusz Korwin Łopuszyński, znany publicysta i ekonomista, zm. we Lwowie.

Prof. Jerzy Janssen, znany historyk rolnictwa, zmarł w Getyndze.

Odpowiedzi Redakcyi.

En. Artykułu łaskawie nadesłanego nie mogliśmy zamieścić z powodu nadmiaru materyału w bieżącym numerze, a w przyszłym straciłby wartość aktualną.

S. K. Nie odmawiamy talentu, ale forma jeszcze twarda i pospolita. Zachęcamy do dalszej twórczości.

Oliwier. Postępowanie gnieźnieńskiego nauczyciela religii na pensyi żeńskiej nie jest jedynem w swoim rodzaju. Donoszono nam o kilku podobnych wypadkach, ale w obec tak nieszlachetnej broni mamy tylko jedną odpowiedź: „Guarda e passa“.

Sprostowanie.

Do wstępnego artykułu w nr. 1 p. t. „Rok żałoby“ zakradła się z winy korektora następująca omyłka: Zamiast „Psalmy Krasickiego“ czytać należy; „Psalmy Krasińskiego“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 3. Poznań, Niedziela 20go Stycznia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚC.

—

Bankructwo haseł wolnej konkurencyi.

II.

Dotychczas mamy dwa przykłady wielkich trustów: cukrowy i naftowy, Sugar- i Standard Oil Trust. Ten ostatni zakreśla coraz szersze koło działania i znajduje się w przededniu wspanialszej jeszcze ewolucyi, gdyż, jak przebąkuje, a raczej trąbi prasa całego świata, ma utworzyć z ruskim syndykatem nowy związek wszechświatowy. Rzućmy jednakże spojrzenie na nader pouczającą przeszłość trustu. Zarodkiem, z którego powstał ten ostatni, było Standard-Oil-Company, utworzona za iniciatywą Rockefellera, jednej z najgłośniejszych dziś w Ameryce osobistści. John Rockefeller, były buchhalter jakiegoś ohioskiego Pacanowa, stał się obecnie przedmiotem podziwu świata przemysłowego Yankesów i w swoim czasie został przez Vanderbildta zaszczycony komplementem „a smart fellow“. Nie szczędząc wysiłków i nie krępując się ustawami moralnemi i prawnemi, dążył on niezmordowanie i z zapałem jedynie do tego, by całe pole przemysłu naftowego poddać władzy utworzonego przez siebie Standard-Oil-Company. W niedługim stosunkowo czasie jego starania, podstępy i intrygi zostały uwieńczone rezultatami, które przechodziły jego własne oczekiwania. Ze wściekłością i fanatyzmem, z uporem i bezwzględnością ścigał on swych wrogów i konkurentów i nie odetchnął dopóty, dopóki 90 proc. amerykańskich producentów nafty nie stanęło pod sztandarem protegowanego przez niego towarzystwa, które wraz z kilkoma innemi trustami minorum gentium utworzyło w 1882 r. Standard-Oil-Trust. Swą przemysłową kampanią zainaugurował Rockefeller właściwie wystąpieniem przeciwko drobnym współzawodnikom, których zgniótł przy pomocy dowcipnego i prostego fortelu. Występując w imieniu nieistniejącego „American-Transfer-Company“ zaczął on traktować z każdą z osobna z trzech kolei, przecinających obwód naftowy. Rokowania swe prowadził on tak zręcznie, iż wkrótce udało mu się wyłudzić od wszystkich trzech przywilej wyłącznego przewozu nafty. Usiadłszy od razu wbrew oczekiwaniu, na trzech stołkach, skorzystał on ze swej pozycyi, by uniemożliwić swym konkurentom transport towaru w miejscowościach eksploatacyi źródeł naftowych. Skutki tej taktyki nie dały długo na siebie czekać. Jęk rozpaczy wyrwał się z tysiąca piersi drobnych handlarzy i kupców, ktorzy pewnego pięknego poranku obudzili się, dzięki uprzejmości „smart fellow“ nad przepaścią bankructwa. A gdy w obozie drobnego handlu rozlegał się lament i zgrzyt zębów, Rockefeller, święcąc tryumf, zacierał ręce z zadowolenia i gotował się do walnej bitwy z otaczającymi go zewsząd współzawodnikami większej ręki. Nie zwlekając długo, starał się on stopniowo zawładnąć rurami, prowadzącymi do miast portowych, by tym sposobem podważyć egzystencyą znaczniejszych zakładów i zniszczyć ich niezależność. Za każdym zaś razem gdy zachodziła obawa, by wśród zwalczonych tytanów nie narodziła się chęć zrzucenia jarzma trustu, ten ostatni opuszczał cenę nafty poniżej kosztów produkcyi. W ostatnich czasach, tłumiąc w zarodku taki dojrzewający rokosz, trust znowu użył tego samego środka, który go wprawdzie kosztował 10 mil. dollarów. Opinia publiczna i część prasy o niezakneblowanych ustach stanęły po stronie „outsiderów“, dyssydentów, jeżeli się można tak wyrazić i uderzyła na alarm. Lecz prawodawstwo nadaremnie siliło się uciąć głowę trustowi, który rośnie w potęgę z każdym rokiem. Cleveland w mowie, wygłoszonej przy objęciu prezydentury ostro wystąpił przeciwko trustom, lecz dotychczasową działalnością w tym kierunku stwierdził tylko, iż nie zbywa mu na dobrych chęciach. Zresztą, jakeśmy widzieli, trusty są nieodzownym skutkiem nieładu i chaosu, panującym w dziedzinie wymiany wszechświatowej. Wielki przemysł, który obecnie nadaje ton na rynku międzynarodowym, stanął przed obliczem groźnego dylematu: wytępiać się wzajemnie lub łączyć. Nie trzeba mu brać za złe, iż nie chcąc coraz bardziej wyczerpywać swych sił w nieustannych bójkach i utarczkach, obrał drogę solidarności i zrobił pierwszy poważny krok na drodze monopolu, sprzeniewierzając się tym sposobem najświętszym tradycyom wolnej konkurencyi. Łatwo przewidzieć, iż wszelkie krucyaty przeciwko trustom pozostaną bez głębszych skutków. Lecz wracajmy do naszego trustu. Widząc się nieograniczonym władzcą na rynku amerykańskim, nie zadowolnił się on bynajmniej zdobytemi w ojczyźnie wawrzynami i sięgnął po władzę za ocean. I tu szczęście mu sprzyjało, gdyż wszędzie napotykał on na brak organizacyi w przemyśle. Włochy, Hiszpania, Holandya, Belgia i Anglia stały się lennemi posiadłościami trustu. Francya i Niemcy również wpadły w jego matnią. W tym ostatnim kraju poznano lisa po pazuruch, gdy za sprawą „Niemiecko-Amerykańskiego naftowego Towarzystwa“ — filii trustu — cena nafty spadła o 30 proc. Kleszczami swemi objęli Amerykanie przedewszystkiem większe miasta. Następnie zaś, dzięki rozgałęzieniu rur naftowych, zbudowaniu odpowiednich statków i wagonów, utworzeniu wzorowych biur statystycznych, które, mówiąc nawiasem, odmówiły publikacyi swych danych w 1892 r., trust wciągnął w zakres swych operacyi i najodleglejsze zakątki. Miejscowi producenci zwąchawszy się z amerykańskimi outsider'ami napadli z nienacka wspólnego wroga z przodu i z tyłu, lecz ani na włos nie zachwiali jego stanowiska. Burzycielska jego działalność postępowała ciągle naprzód. Niejedna egzystencya ekonomiczna została skoszoną, a większość tych, co pozostali przy życiu, muszą zdać się na łaskę i niełaskę amerykańskiego intruza. A publiczność, rozumie się, w to mi graj! Wszelkie kwestye ekonomiczne po za obrębem wysokich lub niskich cen są dla niej Hekubą, tembardziej, iż mścicielką krzywd niemieckich wystąpiła niedawno rosyjska nafta. Korzystając z jedynych w swoim rodzaju sielankowych stosunków najmickich, z ulg kolejowych i zmniejszonych ceł, ruska nafta zalewa coraz potężniej niemiecki rynek. Misyą Rockefellera pełnili w Rosyi Rotszyldowie, którzy mu nie ustępowali w sprycie i wykrętach, gdy szło o utorowanie drogi ruskiemu syndykatowi, który ukonstytuował się ostatecznie z inicyatywy rządu w maju r. b. Podana przez New-Jork-World i roztrąbiona na cały świat wiadomość o utworzeniu rusko-amerykańskiego syndykatu naftowego jest nie tyle fałszywą, ile przedwczesną. Jak głosi fama w osobie stugębnej prasy, toczą się już rokowania w tej sprawie i jeżeli takowe doprowadzą do pozytywnych rezultatów, będziemy świadkami doniosłego wypadku, pierwszego w historyi wszechświatowego monopolu. Nie zastanawialibyśmy się nad nim tak długo, gdyby

ten stojący obecnie na porządku dziennym monopol nie był jaskółką, zwiastającą nowe, głębsze zmiany w gospodarstwie narodowem.

H. Forszteter.



Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego.

„*Gazeta Toruńska*“ zamieszcza znaną odezwę Wielkopolanek w sprawie żałoby narodowej i taką od siebie załącza uwagę:

„Jesteśmy przeciwni demonstracyjnej żałobie, ale nie pochwalamy też bynajmniej hucznych zabaw, bo wielka część naszego narodu uważa rok bieżący za rok żałoby. Można się nie solidaryzować z obchodzącymi żałobę, ale nie godzi się i rozum nie pozwala drażnić ich przez urządzanie b a l ó w p u b l i c z n y c h.“

W podobnym duchu odzywa się również „*Gazeta Grudziadzka*“, publikująca bez wszelkich komentarzy odezwę lwowskiej młodzieży, opartą na uchwałach walnego zgromadzenia towarzystw galicyjskich, a zalecającą wstrzymanie się od zabaw z tańcami w roku żałoby. W tym samym numerze „Gazety Grudziądzkiej“ (Nr. 7) znajdujemy ostrą polemikę przeciw małżeństwom mieszanym, oświetloną wykrawkami z dziejów rodziny Radziwiłłów i Czartoryskich.

„*Gazeta Gdańska*“ (Nr. 7) zamieściła jędrny artykuł p. t. „Knowania spisku K. H. T.“ i oświadcza, że pod tym tytułem ogłaszać będzie wszystko, co się odnosi do ruchu antipolskiego stowarzyszenia, pragnącego Polaków według Bismarckowskiej recepty wytępić i wygładzić.

W Nr. 5 „Gazety“ czytamy w artykule „Kości rzucone“ następującą proklamacyę:

„Otóż podejmujemy myśl jego i ogłaszamy dla Prus Zachodnich bojkot na spiskowców znaku K. H. T. Społeczeństwo całe musi zerwać się do obrony, jeżeli nie chce „iść pod nóż“ jak stado owiec, jeżeli nie chce dopuścić, aby zamiar ogłodzenia nas, „zabicia“ nas, udał się spiskowcom.

Jak się wziąć do tego? Oto należy wszelkiemi siłami dochodzić nazwisk tych panów, którzy w jakikolwiek sposób biorą udział w tajnym spisku K. H. T. i przesyłać nam bezwłocznie wykazy odnośne.

Wiarusy! nadsyłajcie nam nazwiska spiskowców K. H. T., będziemy je ogłaszali, a nadto regularnie pod opaską rozsyłali te wykazy spiskowcom, aby wiedzieli, że na bojkot odpowiadamy bojkotem“.

W Nr. 6 publikuje „Gazeta Gdańska“ takie programowe poglądy w sprawie „żałoby narodowej“:

„Smutną rocznicę utraty niepodległości i wolności święcić musimy za jakąkolwiekbądź cenę — powiedzieliśmy sobie wstępując w progi 1895 roku. Że z hałaśliwych zabaw, pohulanek, bali itp. kwitujemy — to rzecz oczywista. Zanadto niestety tępieje wśród społeczeństwa naszego poczucie okrutnej krzywdy, jakiej doznaliśmy i doznajemy wciąż, poczucie nieprzedawnionych praw naszych, abyśmy nie mieli w roku bieżącym, w roku tak wstrząsających zdarzeń dziejowych oblec ducha naszego w szaty żałobne, zaznaczyć odrębność naszą, przypomnieć sobie i światu krzywdę naszą, straszne „bez Ojczyzny“, i wskazać szerokim warstwom społeczeństwa naszego dobitniej, niż kiedykolwiek cel, do którego każdy Polak, pod karą utraty prawa do chlubnego miana tego, dążyć powinien.

Nie narzucamy nikomu zdania naszego, ale oświadczamy stanowczo, że potępiamy stanowczo wszelkie objawy nadmiernej wesołości w roku bieżącym, żądamy i pragniemy, aby na każdem zebraniu, w jakimbądź celu się ono zbierze — nie przepomniano, że żyjemy w roku setnym z kolei, gdy rozszarpano Polskę naszą, aby każde posiedzenie towarzyskie rozpoczynano modlitwą za nieszczęśliwą Matkę Ojczyznę, albo stosownem wspomnieniem, aby, gdziekolwiek zejdzie się dwóch Polaków Polska była przedmiotem, do którego zwracałyby się ich myśli, słowa i czyny!...

Aby wreszcie — i niechaj te słowa wpiją się jak szpony orła białego w serce i pierś naszą — Polak każdy w pamiętnym tym roku zrywał się z pościeli i kładł się do łoża z słowy siermiężnego bohatera naszego: Oświata ludu dokona cudu.

„*Gazeta Opolska*“ zamieszcza szereg artykułów p. t. „Wypadki z czasów panowania cara Aleksandra III“. Jest to interesująca ilustracya stosunków panujących w zaborze rosyjskim.

„*Goniec Wielkopolski*“ donosi w nr. 12:

„P. Unrug z Mełpina nie przyjął na ostatnim Sejmiku powiatowym w Sremie podanej mu ręki przez Niemca, należącego do Spółki H. K. T. Innego zaś Niemca zapytał wpierw. nim go podaniem ręki zaszczycił, czy do niej czasem nie należy. Gdy się członkowie Sejmu zebrali, oświadczył p. Unrug głośno. iż należącym do Spółki H. K. T. Niemcom ręki podać nie może, że tem więcej za to ceni tych, którzy do Spółki antipolskiej nie przystępują. Zajście to sprawiło wielkie wrażenie, które powiększyło jeszcze „oświadczenie“ Adama hr. Żółtowskiego, o którym rozpisujemy się na innem miejscu.

Z wiarogodnego źródła dowiadujemy się, iż w podobnym przypadku cofnął swą rękę przy powitaniu z Niemcem, członkiem Spółki H. K. T. pan Michał Czarnecki z Raszew i Przybysławia.

Alea jacta est! Całe Księztwo pójdzie zgodnie ręka w rękę i pokaże, iż na własnych śmieciach nie pozwolimy siebie postępować.“

Z okazyi wyborów w powiecie żnińsko-mogilnicko-wągrowieckim i zatwierdzonej przez komitet prowincyonalny kandydatury p. Szczanieckiego, zamieszcza „*Postęp*“ (Nr. 13) następujące uwagi:

„Przy uzupełniających wyborach ma komitet nad delegatami przewagę i wspólne głosowanie jest po prostu komedyą. Przy zwykłych wyborach, gdzie delegatów jest kilkudziesięciu, komitet podług naszego dziwnego regulaminu wyborczego, wcale nie głosuje, a przy uzupełniających wyborach, gdzie jest 2 albo 3 delegatów, komitet prowincyonalny głosuje, zawsze więc przegłosować może. Komitetowi było tego mało, chciał upozorować swoją przewagę i dopuścił do głosowania pana Guttrego, który delegatem być przestał, bo już w powiecie żnińskim nie mieszka, ale w Bydgoszczy. Choć wiedział o tem komitet prowincyonalny, bo nawet „Orędownik“ kilka dni przed zebraniem delegatów o tem pisał, przecież komitet nie zawezwał zastępcy delegata, ale pana Guttrego. Nie jest on już tam wyborcą i w miejsce jego, jeśli się nie mylimy, wybrano walmanem p. Franciszka Kozłowskiego z Juńcewa. Za panem Szczanieckim agitowała cała jego rodzina, nie wyłączając pana prof. Jakowickiego; czyż potrzeba jeszcze było, ażeby najnielegalniej dopuścić p. Guttrego jako delegata?

Takiemi sztuczkami prowincyonalny komitet osłabia powagę swoją, którą powinien był przecież naprządzić po ogłoszeniu jego cyrkularza tajnego w „Przeglądzie Poznańskim“. Komitet prowincyonalny stać powinien ponad stronnictwami, tymczasem na każdym kroku zaznacza on chęć dyktatury i popierania partyi dworackiej.“

— *ski.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Radikalni Listi*“, organ czeskiej Omladyny, taki sąd wydaje o agitacyi cyrylo-metodyjskiej popieranej przez liberalne „Narodni Listy“, a zmierzającej do zaprowadzenia u Czechów liturgii słowiańskiej i unarodowienia Kościoła.

„Idei cyrylo-metodyjskiej przypisuje się u nas znaczenie przesadne. Nasi liberałowie zapalają się do niej; nie chodzi im o religią samą, ale o zbliżenie się do Kościoła wschodniego, do prawosławia. Lud nasz zwykł dzielić służbę Bożą na dwie części. Pierwszą wykonuje ksiądz przy ołtarzu, a lud na to tylko patrzy, w drugiej części, w której sam bierze udział, używa języka rodzinnego, modli się i śpiewa po czesku. W kościele, o ile życie religijne dotyka ludu, jest używany język czeski.

Mówi się także o słowiańskiej stronie idei cyrylo-metodyjskiej. Nie przeczymy, że stając się prawosławnymi, zbliżylibyśmy się do Rosyi, ale prawosławie i liturgia słowiańska, to rzeczy różne. Choćby u nas zaprowadzono liturgią słowiańską i dozwolono księżom się żenić, pozostaną Czesi katolikami, a Rosyanie prawosławnymi. Po jednej stronie będzie papież rzymski, po drugiej car. Jak widzimy kwestya zbliżenia się Czechów do Rosyan jest głębszą, aniżeli starosłowiański obrząd; nie da się przepaść taka wyrównać łatwo, bo Rosyanie są historyczną indywidualnością i Czesi również. Wyrównanie znaczy tyle, co zrzeczenie się swej

---

MARYA RODZIEWICZ.

Pięć koron.

Hetman sumował. Oblicze jego surowe pofałdowało sie głębiej, podgolone czoło schmurniało. Nad pismem, świeżo przez gońca wręczonem, pochylony siedział, tak nisko ciężką głowę chyląc, że olbrzymie wąsy, dotykały karty.

Oczy wbił w litery, a prawicę do żelaza nawykłą o stół polowy wsparł, na którym stał puhar nietknięty i leżała buława wodza.

Za makatami namiotu obozu gwar się rozlegał i wieczornych trąb hejnały.

Hetman w dłonie klasnął i nie patrząc na giermka, co wszedł, krótko rozkazał:

— Ichmość panów dowódzców na radę!

Upłynęła chwila. Za namiotem rozległ się ruch żwawszy, tupot koni, chrzęst zbroi, karabeli pobrzęki.

Weszli. Pięciu ich było. Kapały z nich blaski drogich kamieni, mieniły się zbroje, lite szaty. Każdy u wnijścia głowę odkrył i czapką się skłonił.

— Czołem, mości hetmanie!

Trzech mężów dojrzałych było, dwóch młodzieńców w kwiecie wieku i urody.

Zajęli swe miejsca, trochę zdziwieni nagłem wezwaniem, czując coś groźnego po twarzy wodza. Najstarszy wojewoda i senator, niecierpliwy głos podniósł:

— Mości panie! złe wieści ten papier zawiera?

— Złe! hetman odparł, głowę podnosząc i gorejącemi złością oczyma spozierając po nich. — Najgorsze! — powtórzył głosem rozdraźnionego lwa — pospolite ruszenie się spóźnia.

— Zostawiono nas tedy na pewną zgubę. Nieprzyjaciel o świcie tu będzie.

— Tak, a pospolite ruszenie przyjdzie wieczorem — jeżeli przyjdzie! — dodał ponuro.

— Infamia! horror! krzyknął wojewoda.

— Ile nas? — przerwał hetman.

— Sześć tysięcy.

— A tamtych?

— Trzydzieści.

Zapanowało chwilowe milczenie.

— Starczy im nas na godzinę!

— Oho! — młodszy jeden się wyrwał — nie połkną i przez trzy.

— A potem?

— Potem Cecora! któryś starszy bąknął.

— A kraj aż po serce odsłoniony i bez obrony ostanie. To nie Cecora! — to hańba!

— Pospolitakom hańba!

— Nam! zagrzmiał hetman podnosząc się w całej okazałości i palcem buławę wskazując — A to co? kij owczarski? A wy co? Trzoda? A tam co huczy? Ciury i chamy? Orszą będzie, nie Cecora!

Spojrzał po nich. Surowi byli, ale spokojni. Dwóch młodych powstało. Roziskrzył się im oczy, wydęły nozdrza.

— Rozkazujcie! Dostoimy pola! rzekł wojewoda.

— Słuchajcie tedy. Człowieka trzeba, coby nic i nikogo nie miał i nie żałował. Nikogo po sobie nie zostawił, bo na stracenie pójdzie i ostatnia to będzie jego potrzeba. Kto to jest taki?

— Ja, mości hetmanie! — młodszy się odezwał. — Sam jestem, nikogo nie mam więc też niczego się nie boję. Zguba nie straszna.

A wtem starszy młodzieniec, jak dąb silny w pancerzu na sobie, jakby tylko co z harców wracał, o krok go wyprzedził.

— Zguba ta nie straszna, ale chlubna. Ja się jej nie boję, ja jej chcę.

A chcę dla tego, żem nie sam. Zamek mam, nad którego bramą klejnot. Pięć koron zdobyli sobie na nim przodkowie. A w zamku

przeszłości, najistotniejszego przykładu samoistnej egzystencyi narodowej — a uczynimyż to kiedykolwiek?

Zaiste nigdy.

Będziemy starać się o zbliżenie z Rosyą, zachowując fundament odrębności — a tak samo rzecz się ma również w stosunku do innych Słowian. Jest to fałszem mówić o narodzie słowiańskim, nie o narodach słowiańskich. Nie można tutaj wyrównywać różnic, ani jednoczyć, można tylko zbliżać i układać się.

Ale jest tu jeszcze kilka innych zagadnień nasuwających się każdemu. Czemu nasi słowianofile uważają ideę cyrylo-metodyjską za łącznik z resztą Słowian? Czy jako Słowianie musimy zjednoczyć się na polu religijnem? Mówiąc o wzajemnem zbliżeniu się Słowian możemy mieć na myśli tylko inteligencyą, a inteligencya pod względem wyznaniowym jest indyferentną i jako taka idei religijnych nie potrzebuje.

My nie wierzymy w stronę słowiańską idei cyrylo-metodyjskiej, — słowiańskość to rzecz daleko zawilsza, aniżeli narodowość. Nie wierzymy, aby idea ta miała w sobie siłę twórczą organiczną. Nie wierzymy twierdzeniu „Vysehradu“, ażeby ci Słowianie, którzy język starosłowiański w liturgii zachowali, utrzymali się przy niepodległości, albowiem Bułgarzy i Serbowie popadli w niewolę tak samo jak my przy liturgii łacińskiej. Czy rzesza wielko-morawska straciła wpierw swoją liturgię starosłowiańską, czy niezawisłość polityczną? Nasz naród zbudził się do życia narodowego, choć mamy obrząd łaciński; i to głównie przy współdziałaniu duchowieństwa rzymsko-katolickiego. Widzimy często, że potęga państwa nie zależy od jedności religijnej. Jest potęga w religii, ale ją okazuje tylko naród wierzący, nie naród dla spraw religijnych obojętny, jak nasz czeski.

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“, organ Słowian południowych, wydawany w Tryeście w języku włoskim, pisze o stosunkach narodowościowych w temże mieście:

„*Nulla dies sine linea*“. Magistrat miasta Tryestu nie opuszcza jednego posiedzenia bez protestu przeciw Słowianom, bez wyrażenia obawy z powodu postępu idei narodowej wśród Chorwato-Słowińców.

„Tym razem przemawiał *pater patriae* pan d'Angeli, cytując Taylleranda „„*Surtout messieurs, ne pas trop de zèle*““ zalecając atoli poważne traktowanie grożącego niebezpieczeństwa. O co się rozchodzi? Oto zarząd parafialny kościoła di Santo Antonio Nuovo rozporządził, aby się kazania odbywały również w języku słowińskim. Mówca wystósował memoryał do Watykanu przeciw temu aktowi gwałtu, popełnionemu przez zarząd parafialny. Zastrzegał się, iż jako liberał nic przeciw narodowości żadnej nie ma, atoli obojętność wobec obowiązków patryotycznych zarządu przechodzi w jego oczach wszelkie pojęcie. Mówca zażądał interwencyi policyi wobec rozporządzenia władzy duchownej i domaga się, aby władza duchowna ślepem była narzędziem w ręku Włochów.

„Zapytujemy się, czy władza duchowna przekroczyła swoje atrybucye? Czy nie ma ona kompetencyi roztrzygania, co leży w interesie wiernych? Tylko wzgląd na dobro duchowe, nie polityka, może tutaj decydować. Panowie radni, zaślepieni namiętnościami politycznemi, upatrują akt wyzwania w rozporządzeniu rozumnem i naturalnem. Według relacyi dziennika „Indipendente“ miał d'Angeli oświadczyć, że rozporządzenie to może się stać powodem rozruchów w mieście.“

* * *

Dalmatyński „*Narodni List*“ pisze z powodu protestów, mnożących się ze strony włoskiej przeciw zaprowadzeniu dwujęzykowych tablic na budynkach rządowych w Istryi:

„Dla wykazania bezzasadności twierdzeń prasy włoskiej, że uwzględnienie języka słowinskiego jest rzeczą zbyteczną, wystarczy przytoczyć następujące dane statystyczne: W mieście Koparze (Capodistria) żyje 14,918 Włochów, a 23,042 Chorwato-Słowińców, w Rovigno jest Włochów 11,41, Chorwatów 3,081, w Buzecie (Pinguente) 15,690 Chorwatów, Włochów 990, w Porzeczu (Parenzo) 7,541 Włochów, 4592 Chorwatów itd.

Statystykę zestawiały władze rządowe reprezentowane przez samych Włochów, którzy z pewnością omyłki na rzecz naszej narodowości nie uczynili. Cyfry te świadczą najwymowniej o arogancyi włoskiej mniejszości. Według ustaw austryackich w krajach z ludnością mięszaną mają być wszelkie napisy w obu językach krajowych, jeżeli tego u nas dotąd nie było, działo się to bezprawnie.“

K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z życia ekonomicznego.

(*Notatki*).

I.

Pod tym tytułem pragniemy zapoznawać czytelników peryjodycznie ze zjawiskami ekonomicznemi doby bieżącej. Przemiany odbywają się ciągle we wzajemnym stosunku klas społecznych, nowe formy jakie przybiera materyjalna podstawa bytu społecznego zasługują na uwagę nietylko w wydatnych punktach, lecz nawet w drobnych faktach. Budowa wielkiej drogi żelaznej, zaprowadzenie obowiązkowego zabezpieczenia robotników, zawiązanie wielkiego kartelu dla pewnej gałęzi przemysłu, świadczą o tem, że w tym lub owym kierunku stosunki dosięgły pewnego stopnia dojrzałości, lub że w tym lub owym kierunku wkroczono na nowe tory. Nie należy wszakże tego zapominać, że tego rodzaju fakty są skutkiem jedynie całego szeregu drobnych fakcików, mających pozornie znaczenie tylko lokalne, ale będących w rzeczy samej ukrytemi sprężynami wielkich akcyi dokonanych przez wielkich tego świata, i które jako takie krople sączące kamień zasługują na baczną uwagę. Ośmielamy się twierdzić, że dla historyka przyszłości fakt, że trady uniony oświadczyły się za koniecznością państwowego unormowania dnia roboczego będzie daleko ważniejszym objawem, niż zamach stanu królika serbskiego lub awantury „rewolucyjne“ w południowej Ameryce.

— Fakty jakie przesuwają się przed nami nie są zgodne, nie wykazują rozwoju w jednym kierunku, przeciwnie, mamy przed sobą chaotyczną walkę sprzecznych interesów. To też bacznej trzeba uwagi, żeby w tym zamęcie krzyżujących się linii sił określić kierunek wypadkowej. Zadanie to trudne, tem niemniej przecież wymagające rozwiązania od każdego, kto zechce zdawać sobie jasno sprawę położenia. Zadanie tem trudniejsze, że mamy do czynienia z epoką gwałtownych wstrząśnień, której analogon możemy znaleść chyba w dobie przejścia od wieków średnich do nowych. Tam i tu przeżyły się stare formy wytworności i powstają nowe. Tam kończył się okres gospodarki

---

synaczka mam. Tedy mi się należy klejnotowi chlubę, a synaczkowi przykład dać.

— Ergo! ten mówi jak Rzymianin! — odezwał się wojewoda.

Młodzieniec ku towarzyszowi się zwrócił i z lekka głowę skłaniając dalej mówił:

— Nie ubliżam fantazyi i odwadze Waszmości, panie bracie. Ale kiedy ginąć trzeba, niech ginie prędzej ten, który wie, że śmierć swoję zostawi dzieciom w spuściźnie. Pozwólcie tedy, panie bracie, by synalek mój wcześnie widział, co od niego się Rzeczypospolitej należy jako i ja od rodzica swego wiem.

— Mości panie, kto dzieci ma, łacno może o nich pomyślawszy, siebie w ogniu pożałować.

— Mości panie, kto nikogo nie ma, łacniej jeszcze tył podaje, bo go niczyje wspomnienie do wytrwania nie zagrzewa.

— Wara! ostrych słów przy mnie! — hetman głos podniósł. — To rada, nie sejmik! Wybiorę ja wśród was, a kogo wybiorę, ten natychmiast na koń siądzie, tysiąc ludzi wybierze, podniesie i zabiegnie drogę wrogowi przy rzece, ztąd o mil trzy.

Pospolite ruszenie nadejdzie wieczorem. Wtedy wskok na pomoc runiemy. Dotychczas trzeba wroga zabawiać.

— Tysiąc bawiących na trzydzieści tysięcy zabawianych. Trudno gier dobrać na tyle gości — mruknął jeden ze starszych, którego zawsze trzymały się krotochwile.

Młodemu ochotnikowi ta sama myśl przyszła, bo niespokojnie wtrącił:

— A gdy nas wcześniej zmiotą i położą?

— Tedy chluby nie będzie wam!

— Ja zabawię — zawołał starszy ochotnik.

Hetman ku pozostałej starszyźnie się zwrócił.

— My tymczasem tabor zbijem i okopiemy się, ile będzie można a gońców ku pospolitakom kopniem. Przybędą — ruszymy ku tym — nie przybędą — wytrzymamy dłużej w taborze. Obejrzał się na obraz święty, zdobiący tylną ścianę namiotu.

— Daj Boże przedwieczny, by się nie spóźnili teraz.

— Co powiadacie na postanowienie moje? — spytał starszyzny.

— Że słuszne jest i wykonamy. Któryż z nich pójdzie na ofiarę?

Stary wódz popatrzał na młodzieńców.

Pierwszego, co się wyrwał, sam bojów uczył i przy boku swoim lubił, wielkie nadzieje w nim mając i wiarę. Drugiemu — owego synaka do chrztu podawał — krewniakiem był.

Zawachał się trochę, nasłuchując, czy wbrew złym wieściom, kotłów pospolitego ruszenia nie słychać, — ale w obozie było cicho, bo noc sen już słała.

Wtedy stary wódz żal swój zmógł, rękę podniósł i piersi starszego dotknął.

— Jazłowiecki pójdzie! — uroczyście wymówił.

Młodzieniec do kolan mu się skłonił, towarzyszów skinieniem pożegnał i wyszedł. Łuna głębokiego zapału pokryła mu twarz. Hetman teraz młodszego piersi dotknął.

— A ty, mości Jasieniecki, garść ludzi weźmiesz i ku spóźniającym się skoczysz.

A nie szczędź koni, ani prośby, gdy ich spotkasz. Drogie chwile to — na wagę rycerskiej krwi.

. . . .

I znowu hetman został sam i sumował. I słyszał jak zagrały trąby do pochodu, rozległy się hasła i okrzyki, a potem tysiąc głosów jednę pieśń podjęło i poniosło z sobą, coraz słabnącą w dali, zatartą wreszcie czwału ciężkiego odgłosem.

I wiedział, że ludzi tych i ich pieśni już więcej nigdy nie posłyszy.

A nie wiele potem oderwała się od obozu jeszcze garstka jeźdźców i pognała wstecz kraju do swoich po pomoc.

Pozostali nie spoczęli tej nocy. Zbijali tabor, sypali szańce, ryli jak krety ziemię dokoła. Gdy zorza wstała, obóz zjeżony, wozami ostawiony, kilka swych armat naprzód wytknął, i czekał jak zwierz schylony w swej jamie natarcia albo wybawienia.

kapitalistycznej i przez dwa wieki przejściowe, wśród ciągłych wstrząśnień formował się kapitalistyczny ustrój. Tu kapitalizm rozwinięty do maksimum musi wytworzyć siłą konieczności nowe formy, gdyż siły, które powołał do życia, nie mogą znaleść ujścia w starem środowisku. Stare miechy nie są w stanie utrzymać nowego wina. Czy szybko się skończy, czy długo trwać będzie ten okres przejściowy? Kto czuje ducha proroczego niech odpowiada. Jakim będzie rezultat, jak przedstawi się nowa forma? Nie wiemy, nie rozstrzygamy. „Nie smażymy recept dla garkuchni przyszłości.“

— Spór czy to przekształcanie się formy ekonomicznej jest zjawiskiem podstawowem; a walki współczesne na polu stosunków prawnych, politycznych, narodowych i religijnych wtórnem, czy też oba szeregi faktów są współrzędne nie tu miejsce rozstrzygać. Dosyć, że mamy do czynienia z grupą faktów dostatecznie ważnych, żeby śledzić je nawet w objawach pozornie małoważnych.

* * *

— Jedną z palących kwestyi doby obecnej jest przymusowe bezrobocie. Massa ludzi stale prawie bez zajęcia we wszystkich centrach przemysłowych i coraz bardziej naglącą staje się potrzeba zapobiegania o ile sił starczy tej klęsce. Wprawdzie wszelkie usiłowania w tym kierunku nie mogą zmienić zasadniczo położenia. Tak zwana armia rezerwowa jest koniecznym wynikiem systemu fabryczno-kapitalistycznej i zupełne jej usunięcie jest niedościgłem marzeniem dopóki system ten istnieje, jednakże można i należy usuwać zło o ile się da. Jednym ze środków dążących do tego celu jest pośrednictwo w wynajdywaniu zajęć. Ztąd usiłowanie powołania do życia tak zwanych biur stręczeń mogących działać na możliwie szerokiej podstawie. Pierwszym usiłowaniem w tym kierunku było założenie paryzkiej „giełdy pracy“. — W ostatnim miesiącu spotykamy kilka przykładów dążenia do tego samego celu. W Londynie tak zwani „ojcowie biednych“, t. j. opiekunowie wyznaczeni przez urzędy dobroczynności, postanowili dnia 16 listopada powołać do życia „londyński syndykat stręczenia pracy“. Komisya zwołana specyjalnie w tym celu ma zbierać wiadomości o wszelkich wakujących miejscach dla robotników i udzielać bezpłatnie poszukującym pracy wskazówek. Jeżeli inaczej nie można będzie znaleść zajęcia, należy z funduszy państwowych budować fabryki i zakładać fermy w pobliżu Londynu, w których praca byłaby organizowaną jak w stowarzyszeniach współdzielczych. Jest to projekt sięgający daleko i nie sądzimy, żeby „ojcowie biednych“ uzyskali łatwo potrzebne fundusze od parlamentu. Nie należy jednakże zapominać, że stowarzyszenia dobroczynności w Anglii rozporządzają olbrzymiemi sumami i projekt da się częściowo urzeczywistnić nawet bez pomocy państwa.

— Podobne też biuro stręczeń urządzono niedawno w Liverpool. Tam czasowe bezrobocia są wprost koniecznością wobec niejednostajności zajęć przy dokach. Jakkolwiek zarobki są stosunkowo wysokie, każdy robotnik jest narażony na niepewność jutra. Ankieta urządzona na miejscu wykazała, że przymusowa bezczynność przez całe tygodnie jest rzeczą stałą dla $^5/_6$ robotników. Wobec takiego stanu biuro stręczeń nie wielką przynosi ulgę.

— Te wysiłki w Anglii są rzeczą specyjalnych korporacyi i to charakteryzuje tamtejsze stosunki. Zasada działalności państwowej zawsze jest jeszcze mniej popularną. Inaczej w demokratycznej Szwajcaryi, tu kanton S. Gallen i gmina przemysłowego miasta Wintertur postanowiły uchwałą kantonalną resp. gminną organizacyję biura stręczeń. W Wintertur posunięto się nawet tak dalece, że zabroniono świeżo przybywającym robotnikom poszukiwać zatrudnienia na własną rękę i zmuszono chlebodawców do zawiadomienia biura stręczeń o zapotrzebowaniu rąk roboczych. W St. Gallen wraz z biurem stręczeń postanowiono ubezpieczanie robotników na przypadek pozbawienia pracy. Każda gmina ma prawo utworzyć kasę asekuracyjną, do której z obowiązku należeć musi każdy robotnik zarabiający mniej niż franków 5 dziennie. Składka miesięczna nie powinna przewyższać 30 centymów. Wsparcie wrazie pozbawienia pracy nie z winy robotnika wynosić będzie 1 fr. i może być wydawane najwyżej przez 60 dni. — Jestto pierwsza próba takiego zabezpieczenia, lecz sądzimy, że prędzej czy później ubezpieczenie ochronne robotników posunie się wogóle w tym kierunku. — Dotąd w St. Gallen nowe prawo weszło w życie w dwóch gminach, którym państwo przekazało 5000 franków jako kapitał żelazny nowych kas.

— Niebawem także ma nastąpić reorganizacyja biur stręczeń w Berlinie, które dotąd istniały niezależne w kilku dzielnicach. — Projekt podobny, lecz biura obejmującego całe państwo opracowywa się obecnie w Belgii. Tam jednakże jest planowane zarazem biuro do zbierania wszelkich danych w sprawach dotyczących prawodawstwa fabrycznego. Podobne biuro pod nazwą „Arbeiter Sekrätarjat“ posiada dotąd jedynie Szwajcarya. Pozostaje ono pod kontrolą zjednoczonych stowarzyszeń robotniczych i jest subwencyjonowane przez rząd. Sekretarzem jest znany na polu statystyki pan Szeulich, pod kierunkiem którego wydano już kilka prac cennych, będących podstawą dla prawodawstwa fabrycznego w tym kraju. — Przed miesiącem postanowiono również powołać do życia tego rodzaju biuro statystyczno-informacyjnego w Hiszpanii.

— Biura podobne stanowczo mogą oddać niepomierne zasługi, trzeba jednakże dopełnienia dwóch warunków: 1) Żeby nie były prowadzone zbyt biurokratycznie i dla tego urzędnicy powinni być w ciągłej styczności z ludnością robotniczą, gdyż tylko wtedy są w stanie odczuć żywe potrzeby tych, dla których pracują. Z tego względu organizacyję przyjętą w Szwajcaryi można uważać za wzorową. 2) Żeby ludzie powołani do tej czynności byli w stanie sprostać zadaniu.

— Jak rozległą może być taka praca, wskazuje czynność angielskiej „royal comission of labour“. Komisyja ta wyznaczona ad hoc przez rząd, do zbadania kwestyi robotniczej w całej rozciągłości pracowała przez trzy lata i złożyła owoce swych badań w dziele obejmującem 168 tomów olbrzymich.

Pozwalamy sobie przytoczyć tu kilka punktów ze sprawozdania złożonego przez część tej komisyi. Wydano bowiem dwa sprawozdania od większości i od mniejszości. Sprawozdanie większości stoi bezwarunkowo na stanowisku liberalnej partyi, (znać zasady starego Ricardo zawsze jeszcze dominują w kraju perkalu i węgla) sprawozdanie mniejszości żąda interwencyi państwa i potrzebę tejże motywuje następującemi danemi dostarczonemi przez wspólną pracę, którym bynajmniej nie zaprzecza większość: 32 procent ludności zarabiają mniej niż jednę gwineę tygodniowo co uznano za minimum dla utrzymania rodziny. Prawie 2 i pół miliona Aglików mieszka w mieszkaniach zbyt przepełnionych. Jedna trzecia starców, którzy dosięgają roku 70 pobiera jałmużnę. W Londynie jedna szósta część ludności umiera w przytułkach dla biednych i szpitalach przy tychże. W bardzo licznych okręgach rólniczych, każdego najmitę należy uważać za nędzarza. Sprawozdanie dodaje lakonicznie: nic to dziwnego, bo ludność w Anglii wypłaca rocznie 500 milionów renty gruntowej i kopalń i dywidendy.

— Kwestyją ubezpieczenia robotników zajmował się niedawno kongres zwołany w tym celu w Medjolanie. Podczas gdy na kongresie podobnym w roku 1891 w Bernie głosy były rozstrzelone co do konieczności obowiązkowego ubezpieczenia przez państwo, obecnie pod tym względem panowała jednozgodność. Kongres

---

I tak leżał do południa, cały w słuch i wzrok zmieniony.

— Zabawia Jazłowiecki! — mówiono.

— Może już, Jasieniecki z dziczą wraca!

O południu hetman na szańce wstąpił i tam ku rzece wzrok sokoli wytężył. Cicho było i pusto. Odgłosy walki i konania tych dzielnych nie dochodziły jego uszu, ale on w sercu je słyszał i jak chmura był ponury.

Co chwilę ich mniej, dogasają, — może już wróg po trupach konie rozpuścił i leci zwycięzki.

A odsieczy — nie ma — może nie będzie, i teraz na tę ostatnią garstkę przychodzi kolej zguby — i serce kraju odkryte.

— Mości panie, odezwał się stary wojewoda, który niepostrzenie obok niego stanął. Nasi tam bieżą — niedobitki, czy już przodowniki Szweda.

— Ten obłok? To kurz?

— To jezdni. Raz, dwa, trzy — pięciu! Naszych to reszta z owej zabawy.

— Skończone tedy. W skok i tamci będą.

— Szykować muszkiety i działa.

Zawrzało w obozie. Hetman wciąż patrzał na tę kupkę cwałem lecącą. Wyglądali jak z rozbitego stada żurawi — ostatni.

Dopadli. Jak głos mógł sięgnąć, hetman ku nim krzyknął:

— Na karkach wrogów niesiecie?

Pierwszy towarzysz, ochrypły, ranny, do człowieka niepodobny, konia w ziemię wparł.

— Wasza miłość, wasza miłość... Tam Jazłowiecki z ostatnią setką w ogniu. Ale tamci już się chwieją, podają kroku. Jazłowiecki skoczył jak piorun. Żeby go wesprzeć — nasza będzie — nasza. Tylko w lot, nim się obejrzą, że więcej nie ma i ducha zbiorą! Wasza miłość... Jeszcze tak mówił, a już hetman, jak stał, na konia dosiadł, i głosem do gromu podobnym cały obóz objął.

— Na koń i w czwał!

Ale zachęty nie było potrzeba. Wojewoda jak młodzik biegł, kotły uderzyły wściekle, jeden głos pobiegł z ust do ust:

— Na nich! Jazłowickiego wesprzeć! W konie! Porwali się, podnieśli i sunęli szalonym pędem. Tabor został już martwy. Zostały juki i bogactwa. Rzucili wszystko. Nawet pachołkowie i ciury biegli, nawet skrwawione owe gońce bez sił.

Bachmat hetmański wiódł, skrzydła mu u kopyt rosły. Pęd tamował oddechy.

Dopadli owego placu zabawy.

Cmy wrogów nie rachowali, przez wały trupów szli.

A szli tam, gdzie w mrowiu dziesięćkroć liczniejszem garstka z owej ostatniej setki miotała się, w ostatnich wysiłkach.

Hetman ujrzał jeszcze białe pióra hełmu Jazłowieckiego i miecz jego w żywej dłoni.

Chorągwie wpadły wściekle, siekąc i tratując.

Co krok były bliżej.

Oślepli i zapamiętali nic już nie widzieli. Czuli tylko, że opór słabł, ustępował, że siekli już sami tylko, że gonili.

Wtedy rozpuścili znowu rumaki i poszli na karki wrogów, daleko za sobą zostawiając pobojowisko, działa, namioty trzydziestu tysięcy.

I w pył rozbita — na cztery wiatry poszła ta armia, co serce kraju chciała zagarnąć. Gdy się hetman opamiętał, chorągwie już wracały z pościgu i „Wiwat trymfator“ powtarzały echa stokrotnie.

Wtedy on się zwrócił, wjechał między trupy, między krwi kałuże i orlem okiem się razejrzawszy, stanął w miejscu, gdzie wał poległych spoczywał, w koło znaku.

Chorąży nie żył, ale o towarzyszy trupy wsparty wałem ciał obłożony stał, znak jeszcze dzierżąc. A obok niego z rozrąbaną czaszką, koniem przywalony, obryzgauy posoką, leżał Jazłowiecki.

Tedy hetman czapkę swą z czaplemi piórami zdjął i pokłon mu oddał, a ci, co za nim jechali, też głowy odkryli i umilkli, uszanowaniem zdjęci.

A stary wódz zabitego im buławą wskazał.

— Tenci tu tryumfator jest! — rzekł — i gdybym królewską moc miał, do klejnotu jego

odbył się 1—6 października i liczył 500 członków ze wszystkich krajów.

— Zaznaczamy też, że nowe prawo rumuńskie górnicze, obejmuje przepisy przymusowego zabezpieczenia robotników zajętych w kopalniach.

J. B. M.



ROBERT STEVENSON.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Zdala od ojczystej Szkocyi, na egzotycznej wyspie australskiej Samoa, zgasł przedwcześnie ulubieniec szerokich kół, poeta Robert Ludwig Stevenson, a zwłoki jego pogrzebano na szczycie góry Pala. Wkrótce wzniesie się tam kolumna, aby przypominać marynarzom o miejscu spoczynku poety, który śpiewał dziatwie, zarówno jak ojcom.

Stevenson urodzony w Edynburgu w r. 50 pracował zrazu w odziedziczonej po ojcu firmie inżynierskiej. Wkrótce jednak, idąc za głosem powołania, wstąpił na miejscowy uniwersytet, gdzie uzyskał kwalifikacye na adwokata. Zawodowi prawniczemu wszakże nie poświęcił się, bo zaraz pierwsza jego książka zdobyła ogólny poklask i o karyerze jego zadecydowała. Pod koniec życia, wskutek słabego zdrowia opuścił Anglią i na ziemi antypodów ostatnie przeżył lata. W ogłoszonym świeżo przedziwnie melodyjnym wierszu, zazdrości wiośnie, która „ocknie kwiaty do nowego życia na rodzinnych łąkach“, zazdrości ptakom świergocącym na szkockich chatach podczas gdy „on poszedł hen daleko i przepadł na zawsze“.

Serya essayów jego p. t. „Virginibus puerisque“ zwróciła na niego oczy społeczności, książka, którą pewien wybitny krytyk charakteryzuje jako „najlepszą lekturę dla wypoczywających w hamaku“. Lekka, przyjemna i potoczysta lektura ta nie uroniła nic — mimo radykalne zmiany zaszłe w potrzebach duchowych i upodobaniach dzisiejszych — z swej świeżości, naiwnego wdzięku i wonnej jak kwiat radości życia, która wieje z każdej kartki. Czemu należy przypisać, że pozytywne umysły młodej generacyi, wychowanej na realistach i psychologach, bezkrytycznie słuchają melodyi jego głosu? Bo to nie tony dobrze skonstruowanej katarynki, lecz tony płynące z głębi serca. Publiczność, cobądź o niej da się powiedzieć, rozróżnia instynktownie pomiędzy pozą i fabrykacyą a szczerem uczuciem. Potęga fantazyi i zalety jego pióra uwydatniają się w pełnem świetle w „Nowych nocach arabskich“ i „Wyspie skarbów“, które to książki mogą współzawodniczyć z pismami Juliusza Verne. Za arcydzieło jego uchodzi późniejsza powieść p. t. „Kradzież dziecka“ (Kidnapped), a bohater jej Alan Breck za najlepszą kreacyę. Tu i owdzie widoczne są reminiscencye z Waltera Scotta, Dumasa i Poe'go, lecz w rezultacie jest to zawsze prawdziwy Stevenson.

Jako poeta zasłynął S. zbiorem p. t. „Dziecięcy ogród wierszy“, które szczerze i trafnie odzwierciadlają fantazye młodych umysłów. Wiersze te, w swym rodzaju jedyne, zdają się być wiernie przechowanemi wspomnieniami z lat dziecinnych. Bardzo wielu autorów usiłuje odmalować dzieci, jak n, p. Halévy, ale wychodzą one z pod ich piór sztuczne, przemądrzałe, bohaterskie, jednem słowem nie dziecinne. Każdy przechował wspomnienia z złotej epoki, kiedy życie wydaje się zabawą. Któż jednak pokusiłby się o wskazanie motywów akcyi malców, które są zagadkowemi dla starszych, a cóż dopiero o pochwycenie ich na papierze? Stevenson posiadał wrodzony dar odgadywania pobudek i wnikania w tajniki jaźni dziecięcych, a odczytując jego strofy, przekonuje się czytelnik, że ów wiek złoty nie był snem, lecz rzeczywistością.

Charaktery kobiece i miłość nie grają w jego pismach żadnej roli. Raz tylko pokusił się o odtworzenie postaci niewieścich w powieści napisanej na wzór i pod wpływem „autora autorów“ — Jerzego Meredhita, lecz niefortunnie. Natomiast nowelki jego jak „Dr. Jekyll i Mr. Hyde“ lub „Markheim“ znajdą zawsze chętnych czytelników.

Stevenson nie był z tych pisarzy, którzy lubują się w kwestyach spornych, badają dusze ludzkie i zanurzają się w labirynt myśli. Był to śpiewak, który melodyjnością i rytmem kazał zapominać o prozie życia, cieszyć widokiem świata i wysnuwać fantastyczne obrazy. Każdy czytelnik zawdzięcza mu wiele miłych chwil, ztąd żal po nim był ogólny i niezdawkowy. Literatura traci w nim instynktownego psychologa dusz dziecięcych, umysł obdarzony niedoścignioną, jak wichry, fantazyą, a mianowicie świetnego mistrza stylu.

M. W.

Najnowsze dzieło Ibsena.

(Dokończenie.)

Allmers, usposobienia niezdecydowanego, po odjeździe Asty z Borgheimem, jest zachwianym w swem postanowieniu porzucenia Rity, bo „może mimo wszystko, prawo ewolucyi zwiążek ich utrwali“.

W toku dyalogu pomiędzy opuszczonemi małżonkami wplątał autor pozornie epizodyczne opowiadanie wrażeń, jakie wyniósł Allmers z swej wycieczki w góry. Jest to jeden z najpiękniejszych ustępów, który tłomacz oddał z harmonią właściwą prozie dramaturga.

ALLMERS: Byłem samotny, ot tam — w sercu olbrzymich szczytów i tam zastąpił mi drogę szeroki, ponury staw górski, który wypadło mi przebyć. Tymczasem — nie mogłem, bo — ani nie było łodzi, ani człowieka wokoło.

RITA: I cóż dalej?

ALLMERS: Potem bez przewodnika udałem się do ubocznej doliny w przekonaniu, że tą drogą uda mi się przedostać przez wyżyny, pomiędzy stronnościami, a potem znowu na dół na drugą stronę stawu.

RITA: O! z pewnością zmyliłeś drogę.

ALLMERS: Tak jest, zmyliłem kierunek, bo nie było ani ścieżki, ani gościńca. I cały dzień szedłem i całą następną noc. W końcu sądziłem, że nie ujrzę więcej twarzy ludzkiej.

RITA. I że nie powrócisz do domu? W tym razie jestem pewną, że myśli twe były tu przy nas.

ALLMERS. Nie bynajmniej.

RITA. Nie?

ALLMERS. Nie. Było to dziwnem. Zarówno ty jak Eyolf, zdało mi się byliście daleko, hen daleko odemnie — i niemniej Asta.

RITA. O czem tedy myślałeś?

ALLMERS. Nie myślałem. Wlokłem się pomiędzy przepaściami, a dusza moja radowała się spokojem i wspaniałością śmierci.

RITA (zrywając się). O! nie mów takich określeń o takiej okropnej rzeczy.

ALLMERS. Wcale tego nie odczuwałem. Nie miałem najmniejszej obawy, bo chociaż tu

---

dodałbym dzisiaj jednę koronę. A takoż mu ją Bóg doda — niebieską.

Skoczyli rycerze i bohatera na rękach podnieśli. Chorągwie się chyliły przed nim, a starszyzna pochód zamykała.

Hetman na jednego z rotmistrzów skinął.

— Weźmiesz waszmość znak ten, i miecz, i hełm. Synaczka to jego spuścizna i ojcowski testament. Takci ten rycerz chciał i stanie się.

A gdy to mówił, posłyszał okrzyki:

— Jasieniecki wraca. Odsiecz! odsiecz!

Jasieniecki wracał, ale sam. Z daleka zrozumiał rzecz całą — dojrzał pochód. Zwolnił kroku i stępo do wodza się zbliżył.

— Wasza miłość! Pospolite ruszenie w niezgodzie. Chyba wasze słowo tam pomoże. Wróciłem z niczem! — rzekł ponuro.

— Tedy Bogu chwała, że między chwastami tej ziemi zasiał nasienie takich, jak ten bohater, bo bez nich nie stałoby Rzeczypospolitej! — odparł hetman z zapałem.

JAROGNIEW.

BOŻA MĘKA.

(*Dokończenie.*)

— Staśka, mogłabyś sa opiąć powój na Bożej męce. Dawniej zawsze bywało stroiłaś ją, a teraz o chłopcach myślisz pono tylko, ino, żeby cię Bóg nie pokarał zato. —

Staśka właśnie ustawiła kubły z wodą w sieni i postawiła szuńdy w kącie. Wyszedłszy z chaty, spojrzała na krzyż.

— Co ma pokarać, aco to grzech kochanie? — spytała, splatając ręce w tyle głowy i jakby przeciągając ciało swe pełne.

— Nie grzech kochanie, ale grzech o Chrystusie zaboczyć.

— Taj ja nie zaboczyła, ino mi tak nijak.

Usiadła na ławce pod ścianą chaty i, trzymając tak ręce nad głową, wpatrzyła się niebieskiemi oczyma daleko.

Juści matuś nie kłamali, dawniej, jak sobotni nadszedł wieczór, szła uzbierać modraków, uwiła z nich koronki i po jednej zawiesiła na każdem ramieniu krzyża, jednę pod nogami Chrystusa i jednę nad głową Jego. Do każdej koronki przyczepiła wstążki kraśne, wycięte z papieru żółtego czy czerwonego.

Gdy wiatr oderwał łodygę powoju od krzyża, przyczepiała ją troskliwie i tak obwijała zieleń wkoło, aby nigdzie drzewo nie przeglądało. Gdy skwar był wielki, i deszcz długo nie padał, wtedy skrapiała powój, aby nie usechł tylko, niech Pan Bóg broni. Juści dawniej tak było; niejeden przechodzeń, ściągając wtedy czapkę przed Bożą męką, przystanął chwilę, dziwował się okrutnie i mówił:

— Dziewucha ci do tańca i do pacierza, Cie, — Boże daj jej chłopa dobrego, bo co wartna to wartna.

Ale teraz, od miesiąca już nie stroiła krzyża. Teraz gdy mogła, usiadła rada na ławce pod ścianą i, splótłszy ręce w tyle głowy, patrzała w dal niebieską. A gdy się jej pytano, co widzi tam na niebie, że się tak ciągle wpatruje, — juści, że widziała, wiele widziała, ino nie mogła ludziom powiedzieć.

Nieraz w tych oczach jej, zapatrzonych wdal, malował się smutek tęskny, i tak łzy na nich drżały, jak rosa poranna na bławatku. Wtedy tak ciężko było jej na sercu, bo ciągle coś jej mówiło, że Jasiek wybrał sobie Bartkową Marynę i do niej także zachodzi. Też

postępowała śmierć za mną, wydawało mi się, że posuwamy się razem jak dwaj dobrzy towarzysze podróży. Wszystko zdało mi się tak naturalnem, — tak prostem w mej wyobraźni. Ludzie mego rodu nie żyją do późnej starości....

RITA. O! Alfredzie, nie mów takich rzeczy. Widzisz przecie, że wróciłeś cało, mimo wszystko.

ALLMERS. Tak. Naraz niespodzianie znalazłem się tam, gdzie dostać się chciałem, na drugiej stronie stawu.

Położenie Rity jest rozpaczliwem. Niedość, że straciła dziecko, ale mąż jest zupełnie jej obcym. Chociaż nie opuszcza jej zaraz, nastąpi to zapewne niezadługo. I tu w bezradnej i znękanej jej duszy zachodzi wielkie przeobrażenie pod wrażeniem powyższego opowiadania. Wierna sobie, boleje wprawdzie nad zerwaniem węzłów płciowych, bo „bądź co bądź jest ziemską istotą“, ale ona kocha męża jeszcze inną miłością, która teraz występuje w pełnem świetle. Aby zatrzymać go przy sobie podsuwa mu myśl podjęcia na nowo porzuconej pracy. Dawniej dzieło jego było dla niej zaporą do wyłącznego posiadania Alfreda, teraz jest deską ocalenia, bo ona gotową zadowolnić się okruszyną. Prosi go, aby pozwolił jej być pomocną przy pracy, bo przecież czemś okropną pustkę zapełnić należy. Chodzi jej niemniej o męża. Praktyczniejszego bowiem i jaśniejszego umysłu od męża, — który zrozpaczony nietylko myślał o położeniu końca własnemu życiu, ale suggestyonował jej samobójstwo — widzi, że Allmers w gruncie rzeczy nie pragnie ani śmierci jej ani własnej. Zapominając o sobie Rita idealnieje, przestaje kochać s i e b i e w mężu, a poczyna żyć dla niego. Wskutek podniesienia skali moralnej, miłość macierzyńska dźwięczy silniejszym i czystszym akordem. W wyobraźni swej żywiej od męża odczuwa śmierć dziecka; widziała „wielkie otwarte oczy“ Eyolfa wlepione w siebie, słyszała poprzez syk i świst parowców, okrzyk rybaków: kula pływa!... lecz pozytywistka odczuwa wyraźnie, że żal i lament nie są materyałem życiowym. Wspólna praca nie zdaje się nęcić Alfreda, ale przy rozbudzeniu uczuć macierzyńskich nasuwa się jej myśl, którą autor drobnym, świetnie inscenizowanym wypadkiem jej podsuwa myśl — zaopiekowania się wiejskiemi dziećmi. Ibsen zdaje się mówić: „aby miłość maciarzyńska była czystą i wielką, kobieta powinna wyswobodzić się z pętów zmysłowych, wznieść ponad interes materyalny“. Odtąd będzie miała, będą mieli oboje wspólny cel życia. Nie ma Eyolfa, lecz mnóstwo dokoła małych Eyolfów w parafii, z których istnienia dotąd nie zdawała sobie sprawy. One zajmą miejsce zmarłego nietylko przy stole, ale w jej sercu, wypełnią próżnie i zbratają z mężem.

W tej przepięknej scenie, w której autor poruszył wszystkie struny duszy ludzkiej, aż do najskrytszych, zdaje się on wyraźniej niż kiedykolwiek wskazywać na zasadniczą różnicę pomiędzy charakterem męzkim a kobiecym. Któremu z tych dwojga poszczególnych typów przyznać palmę pierwszeństwa, jest kwestyą sporną, bo oboje są typami dodatniemi.

Allmers zrazu nazywa projekt żony nierozsądnym, powątpiewając w jej zdolności wychowawcze.

RITA. W tym razie muszę się do tego naginąć, wyuczyć i wejść w tryb.

ALLMERS. Jeżeli w istocie jesteś seryo we wszystkiem — we wszystkiem co mówisz — to musiała widocznie zajść w tobie zmiana.

RITA. Z pewnością i tobie to Alfredzie mam do zawdzięczenia. Wytworzyłeś we mnie próżnię i muszę pokusić się o wypełnienie jej czemś, czemś co wygląda trochę na miłość.

Allmers zgadza się z nowym stanem rzeczy. Oboje wznoszą chorągiew na trawniku osadzoną, która na znak żałoby była spuszczoną przez pół, i życie rozpoczynają na nowo, na rozszerzonej podstawie. Burza w ich duszach ukołysała się, bo weszła gwiazda nadziei, jeżeli nie nadziei w szczęście to przynajmniej w spokój. Spokój też jest cichym, uroczystym, patetycznym tonem przebrzmiewającym przez końcową scenę, który można porównać z antyfonalną harmonią w Brand'zie i potężnemi akordami w Mistrzu Salnessie.

ALLMERS. Ciężka praca czeka nas znowu Rito przez dzień cały.

RITA. Przekonasz się, że teraz od czasu do czasu sabat pokoju zstąpi na nas.

ALLM. (spokojnie ale wzruszony). Wtenczas zapewne przekonamy się, że duchy są z nami.

RITA (szeptem). Duchy?

ALLM. (j. w.) Tak, zapewne będą kołowały w koło nas te duchy, które postradaliśmy.

RITA (przytakując zwolna). Nasz mały Eyolf i twój wielki Eyolf także.

ALLM. (patrząc prosto przed siebie). Od czasu do czasu może — w wędrówce przez życie będziemy mogli rzucić na nie okiem w przelocie.

RITA. Gdzie szukać ich?

ALLM. (wpatrując się w nią). W górze.

RITA (przytakując) Tak, tak w górze.

ALLM. W górze, w kierunku — gwiazd, w kierunku szczytów i — wielkiego milczenia...

RITA (podając mu rękę) Dzięki!

To słowo: dzięki! mówi za tomy...

Ze stanowiska scenicznego „Mały Eyolf“ aczkolwiek mistrzowski w technice, przedstawia się blado i traci przez narzucające się porównanie z „Mistrzem Solnessem“. Jedynym wypadkiem jest tu śmierć Eyolfa, a ten przypada na akt pierwszy, poczem akcya zanika i rzecz rozpływa się w dyalogach podczas gdy w Solnesie szła progressywnie i kończyła nieuniknioną, scenicznie efektowną katastrofą.

Zestawienie też wypada także na korzyść dawniejszego dramatu, w którym głosił Ibsen konieczność poddania się ewolucyi społecznej i przypuszczenia młodej generacyi do przynależnego jej udziału w życiu społecznem. W tej sztuce zaś udowadnia autor potrzeby wyemancypowania się z pod wpływu zmysłów i zawiązania spójni duchowych. Wprawdzie pod dłutem Ibsena teza ta staje przed oczyma świetna, przeczysta, jak z najpiękniejszego wykuta marmuru i umotywowana zaczerpniętą głęboko argumentacyą, lecz tak daleko idąca apoteoza uczuć platonicznych zakrawa na manią. Natomiast w Solnessie myśl przewodnia jest zupełnie naturalną i nie przeciągniętą.

Atoli i tu, w tej wzniosłej, idealnej sferze dramaturga, (którego podobało się nazwać kapłanem pesymizmu mimo niezbitych dowodów, że wierzy głęboko w dobroć psychicznych fundamentów) myśl czytelnika przebywa z radością i zadowoleniem, usiłując odgadnąć człowieka przedstawionego w dwóch wszechświatowych typach. Ibsen, jak zwykle, zanurza całą rękę w mętne głębie dusz, do których wzrok przeciętnego człowieka nie sięga, i wydobywa z labiryntu tysiące subtelnych obserwacyi, najskrytsze uczuć półtony i ich motywy. Indywidualność postaci jego jest tak silnie zaakcentowaną, że muszą one w artystycznej formie wydać się ekscentrycznemi, a nieobeznanemu z Ibsenem czytelnikowi zrazu wierzyć się nie chce, że to ludzie z krwi i kości. Pod skromną sukienką kryją się w „Małym Eyolfie“ znowu skarby tego tytanicznego umysłu, na misterną składające mozajkę. Ztąd odczytując i odczytując niewiele kartek dramatu robilibyśmy coraz to świeże odkrycia i nagromadzili nawał ich do objętości tomu. Dlatego już surowa postać geniusza północy wznosi się jakoby piramida w pośród braci literackiej, dominujący wywierając wpływ na pisarzy współczesnej ery, którzy mają nadzieję wyryć swe imiona niezamazanemi głoskami na karcie historyi umysłowości.

Nobody.

---

stary Bartek miał gospodarstwo całuśkie, a w skrzyni tyle papierków, żeby pono i dla córki jego na gospodarstwo starczyło. Raz Jasiek, było to przy sianobraniu dosiego roku, niby to śmiał się i figlował ze wszystkiemi dziewczętami, a gdy został sam z Maryną dalej od drugich, wtedy ją objął w pas obiema rękoma, i widziała, że ją pocałował. Udała, że nie widzi, i że ją równak nic nie obchodzi, — a serce w piersi to aż jej coś krajało z żałości. Niejednej nocy wtedy była poduszka jej tak mokra od łez, jakby ją kto ino co ze studni wyciągnął.

Juści smutno jej wtedy było, oj bardzo smutno, ale dzisiaj to jej zato nic nie smutno, a i wczoraj nie było, gdy ją pocałował, chociaż udawała, że się gniewa na niego.

Dzisiaj przy studni to tak prosił, tak prosił, sobacyna, — choć ustami nie tyle, to przeci widziała, jak patrzał na nią, aż jej po plecach latało, jakby jej kto wody nalał za koszulę.

Powiedziała mu: przyjdź, obaczysz, — oj obaczy, jak wygląda go tutaj i za nim banuje przed chatą.

Więc po wieczerzy, gdy matuś już zasnęli, i Antek spał, a tak głucho było wkoło, że słychać było, jak serce jej w piersi kołacze, stanęła cichutko na progu chaty i wyjrzała w noc księżycową, jasną. — Jaśka jeszcze nie było. Przystąpiła do opłotków i, oparłszy głowę na ręce, patrzyła na drogę. Włosy miała spuszczone, a we warkocz wplotła wstążkę kraśną. Księżyc sunął szybko ponad podartemi przez wiatry chmurami i rzucał raz poraz światło na nią, które odbijało zielonawo od koszuli jej białej, na której korale i medalioniki mosiężne błyszczały.

We wszystkich chatach pogaszono światła, tylko z jednego okna padał na drogę pas jasny i rysował się wyraźnie na cieniu chaty. Musi ktoś jeszcze lampkę palić lub ogarek. Potem doleciało do niej ciche, a jednak wyraźne w nocy, na fujarce wygrywanie. To Józiek owczarzów wygrywa sobie pono, a może też i on ogarek pali.

Chwilę czekała, a oderwał się wtedy od chaty jednej cień człowieka, mogła go rozpoznać, kiedy przechodził jasne smugi pomiędzy cieniami chat.

Jasiek? — Juźci Jasiek.

Gdy ujrzał czekającą Staśkę, przyśpieszył kroku i po chwili stanął przy opłotkach.

Ja wiedział, Staśka, ja wiedział, że ty czekać będziesz.

I wyciągnął do niej ramiona ponad okólnikiem, ale cofła się wstecz i ująwszy jego ręce, rzekła:

— Cicho, Jasiek, nie całuj, bo to grzech.

Potem przystąpiła do opłotków i oparła na ręku głowę jak przedtem.

— Kiej nie patrzyłaś na mnie, ja myślał, że mnie spali krew gorąca.

Pochylił się ku niej i, zaglądając jej w oczy, które świeciły jak dwa szafiry, mówił:

Wczoraj takie coś przyszło na mnie, jakieś licho zdusiło mnie za gardło, ażem myślał, że padnę. — Widzisz, Staśka, na chorobę to ziele pomoże jakie abo co, ale na kochanie to żadnego ziela nie wynajdziesz, to abo zadław, się własnemi rękoma, abo, Staśka, weź i ukochaj, że aż serce z piersi wyskoczy przy takiem ukochaniu.

Uśmiech rozkoszy okrasił usta Staśki, a tak jej miękko robiło się na sercu, jakby jej samo zapłakać miało słodkiemi łzami.

— Juści prawda, Jasiek, — juści prawda, — odparła mu i, nie mogąc się oprzeć uczuciu, rękę lewą, na której nie była opartą, podniosła wolno i położyła mu na ramieniu.

Chłopaka aż dreszcz przebiegł za dotknięciem jej dłoni, i przycisnął rękę jej namiętnie do piersi, a w oczach, któremi patrzał na nią, świeciły płomienie jak dwa ogniki nocne.

— Wiem ja, co to kochanie, Jasiek, bo bez ciebie świat mi obrzydł cały, a kiej mam robotę, to wszystko mi tak nijak, kiej ciebie nie widzę.

Jemu zdawało się, że za tą jej koszulą białą chyba ogień się pali, takie ciepło szło od niej. Odurzało go to ciepło rozpalonego łona, w piersi jego budziła się jakaś moc, która go parła

Prywatne stosunki z muzą.

(*Dokończenie.*)

Tobie się widzi, że on umie tylko zniechęcać innych i siedzieć do rana w knajpie, a później do obiadu samego spać — a on tymczasem miewa dni i okresy zawziętej, zaciskającej rękę energii i po próżniaczej, leniwej pauzie, naraz podmalowywa coś na wielką skalę, a potem wykończając, znęca się po prostu nad płótnem tak długo, aż będzie godnem wystawienia w salonie jak monachijski lub paryzki.

Organizacya to w ogóle nierówna, nerwowa i gorączkowa. Jest tak dalece na łasce nerwów, że obraża ludzi nie wiadomo za co i po co, i sam czuje się urażonym nie wiadomo czem. A jednak drażliwości tej okazywać mu nie wypada, więc się nachmurza i w norę swoją włazi, jak zraniony zwierz. Przysłano mi oto „Tę trzecią“ Sienkiewicza; czytam, zachwycam się i daję malarzom — zabawa i zadowolenie setne. Ale ponieważ jest tam ośmieszony, wprawdzie z dziwną sympatyą, maniak artystyczno-cygańskiej tężyzny, który jednak wkrótce pod wpływem Paryża, zaczyna się nosić jak ostatni dorobkiewicz, więc *On* myśląc, że piją do jemu podobnych, nie lubi „tej trzeciej“, nie lubi, gdy się ją chwali. Nikt jednak tych jego wewnętrznych dąsów nie podejrzywał i gdy razu pewnego ktoś zacytował piękne zdanie z owej noweli brzmiące mniej więcej w ten sposób, iż największa sztuka nie warta tego co swobodą — On był przekonany, że chciano go ukłuć, choć wiem napewno, że przytoczono te słowa w najniewinniejszej myśli.

I oto stopniowo rozluźniły się węzły pomiędzy nim a towarzystwem, mimo całej dla niego i jego kaprysów i wybryków pobłażliwości. Pamiętam, że jeden z kółka, także zdolności pierwszorzędna, ale człowiek znacznie młodszy, skarżył się wyrozumiale, że *on* będąc u niego z wizytą w pracowni, nawet nie raczył spojrzeć na stalugi z wielkim i nawet, jak gadano, znakomitym obrazem. Czy to była dyplomacya, czy etykieta wizyty nie pozwalała mu zainteresować się pracą kolegi, już wsławionego? Nie sądzę, ot! bezceremonialne lekceważenie współzawodnika, szczęśliwego dosyć, bo i zręcznie wyzyskującego środki reklamy, jakie w swych rękach posiadał. Sprzeciwiało się to jednak zupełnie zwyczajom, wśród malarzów, no i chyba nie malarzów przyjętym.

Ponieważ, jako intruz, nie lubiłem narzucać się ze swem zdaniem, i w kole ludzi znających dobrze i tylko sztukę, miałem więcej do słyszenia i obserwowania, niż do mówienia, przeto jeden z nich zrobił mi raz życzliwą uwagę, że mi *on* bardzo imponuje, i że „to widać z mojej fizyognomii“. Przyznam otwarcie, iż nawet najwybitniejsze jednostki ze świata malarskiego, które miałem sposobność poznać, tak mię raziły zawsze okropną jednostronnością umysłu, żem się niemi zachwycać nie mógł, choć nieraz zachwycałem się ich obrazami. Jeszcze o noweli, powieści, krytyce artystycznej można z nimi mówić i nieraz nawet posłyszeć oryginalną uwagę, ale o rzeczach innych, o sprawach ogółu i całej literatury — nie miałem odwagi.

Cóż więc dziwnego, że jego wyróżniałem wzrokiem i spojrzeniem i że z nim najczęściej w zdaniu się zgadzałem? Nie mówił płynnie, ale ściśle i dobitnie, słownik miał ubogi, ale objęcie rzeczy znakomite. Intuicya zastępowała mu nieraz wykształcenie literackie i filozoficzne.

Pamiętam tę noc, kiedy, po rozejściu się towarzyszów do domów, błądziliśmy prawie do rana po ulicach. W ciszy i ciemności ukazują się ludziom duchy — i mnie i jemu zamajaczały widma dalekich znajomych i dalekich ziem.... Gadało się o wielu sprawach...

On występował w nieznanem mi dotąd świetle — okazał się człowiekiem kryjącym pod chłodną maską głębie melancholii i liryzmu. Na wspomnienie o ludziach, mających w sercu miejsce i na sztukę i na bolesne dramata historyi, z uwielbieniem przyznał nad sobą wyższość Witkiewiczowi.

Zabłądziliśmy do kawiarni tureckiej na mokkę. Pusto już było i służba drzemała prawie: kelner w fezie i szerokich szarawarach, (według jednych autentyczny wyznawca Mahometa, według innych żyd z Jerozolimy), blagował na funty, jakby w biały dzień. On czuł się wśród tych sprzętów arabskich, wdzięcznych w liniach, i kolorystycznych, bardzo zadowolnionym. Wszystko, co miało styl prawdziwy, pociągało go niewymownie; nietylko dla tego, że zawierało artyzm, ale że było obce, dalekie, ze świata. Zapewniano mnie, że codzień chodził na dworzec kolei, ażeby doznawać przedsmaku jazdy — dokąd? do Paryża, do Londynu, dokądkolwiek, byle na świat wielki, szeroki, do „Europy“ — bo Monachium to dlań zwyczajna dziura. Dla całego klasycyzmu nowożytnych Aten miał głęboki wstręt, jak dla parweniusza, a o Glyptotece stale twierdził, że przechodząc koło niej miał zawsze chęć — wyć w niebogłosy.

Przekonałem się niebawem, że włóczęgostwu swemu pozostał wiernym, bo od owego czasu zmienił przynajmniej pięć razy miejsce „stałego zamieszkania“.

Kiedy w rozmowie z pewnym jego przyjacielem, wybitnym powieściopisarzem, potrąciłem o niego i wyraziłem żal, że pracuje tak niewiele, że jest mojem zdaniem potrosze zmarnowany, literat odrzekł, że innym nie byłby nawet w najlepszych warunkach.

Nieprawda — co innego typ, a co innego zmarnowanie. Że tworzy rzadko i nierówno, to może wypływa z nerwowej, niekarnej natury. Ale, że będąc powołanym do stworzenia grupy i szerzenia swego wpływu, kończy zwykle zrażeniem ludzi do siebie -- to rezultat warunków, wśród których znajduje się większość artystów polskich. On ma szaloną ambicyę posiadania własnej szkoły, a tymczasem, o ile widziałem, przypuszczalnym uczniom swoim nigdy dobrze nie życzy i jest drażliwy jak żak. To już zmarnowanie, przynajmniej częściowe.

Za dowód służą zresztą wszyscy jego koledzy, całe grono nietylko „Café Union“ ale i z „Walhalli“ i z „Lohengrina“. Są to sympatyczni bezwiedni komicy. Każdemu brak jednej klepki. Nie tej klepki, której zdrowem, normalnem posiadaniem pochwalić się może lada filister, lecz tej, która nadaje fizyognomii powagę, życiu — płodność, sztuce — prawdziwy styl. Z małemi wyjątkami, tworzą kapryśnie, dorywczo, bez przekonania. — Zdaje mi się, że żaden nie ma zadowolenia wewnętrznego, stałego kierunku duszy, „dyrektywy“, silnej wiary w swe rzemiosło.

Są bohaterami nie dramatu, lecz jedynie poważnej komedyi. Komedyę bowiem stwarza to dziwne społeczeństwo, w którem żyć — jest to rozdrabniać swój ideał na idealiki, talent na talenciki, sztukę na sztuczki, a które porzucić dla obczyzny, — jestto dobrowolnie skazać się na tysiączne bóle i bolączki. Współczuję im głęboko...

Cezary Jellenta.



KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków, 16 stycznia.

(*Hurko i Kościuszko. Nowy witraż w kościele N. M. Panny. — Telefony. — Towarzystwo oświaty dla inteligencyi. — Z teatru.*)

„Czas“ i „Nowa Reforma“, żyjące wpra

---

do niej potężnie; — więc objął ją ramieniem, że teraz na jego piersiach miała głowę i tak do nich przygarnąć się mogła, jak ptaszek w gniazdku.

Przytulonej bokiem do niego tak było rozkosznie, — tak czuła się bezpieczną, jakby przytem sercu jego świat jej się kończył cały, a zaczynało niebo czyste.

Tylko gdy schylił głowę i szukał jej ust rozpalonemi ustami, wtedy podniosła na niego bławatkowe oczy jak sarna wylękła.

— Nie całuj, Jasiek, nie całuj, — rzekła cichutko, — bo to grzech.

Chłopak usłuchał, tylko przyłożył twarz pałającą do jej włosów jasnych.

— Mnie to aż strach iść do chaty, — rzekła, — a kiej głowę przyłożę do poduszki, to mi tak przykro okrutecznie, że ty śpisz sam, zdala odemnie, Jasiek, jak jaki obcy, jakbyś mnie nie znał, a ja cię nie miłowała tak serdecznie.

— Taj chodź zemną, — wyszeptał ledwo dosłyszalnie.

— Po weselu, Jaśku, po weselu.

Już owczarka granie dawno ustało, i zniknął pas światła ostatni pod oknem, gdy Staśka głowę podniosła od jego piersi, — a tak jej było, jakby ze snu przebudziła się rozkosznego.

— To już bardzo późno, — rzekła, — patrz jak księżyc daleko na niebie, to już bardzo późno.

— Taj cóż, czy boisz się przy mnie? a matula w chacie śpią?

— A tobie czy nie wstać jutro do dnia, mój złociusieńki, idź już, idź, ja też się układnę.

I oderwała się od niego, broniąc się jeszcze, gdy ją chciał na dobranoc w usta pocałować.

— Po weselu, Jasiek, po weselu, — rzuciła mu z uśmiechem i znikła we drzwiach chaty.

Chłopak został sam na drodze, a tak czarno wydało mu się teraz na świecie; — drzwi chaty, za któremi znikła, takie były czarne, puste, krzyż sterczał przed chałupą samotnie, jak na cmentarzysku, — a i świat cały był jak cmentarz jeden.

— Po weselu cie, — zaśmiał się do siebie.

Staśce długo tej nocy nie kleiły się do snu powieki, — a gdy zasnęła w końcu, śniła o Jaśku, bo uśmiech szczęścia błądził po jej ustach.

Juści już teraz do szczęśliwości nic nie brakło; w niedzielę był Jasiek znowu u niej i w poniedziałek, a choć potem już nie przyszedł na wieczór, w sercu miała tyle szczęścia, że jej starczyło na tydzień cały.

Chyba nieboraczyna czasu nie miał we żniwa, aby po nocy do niej zachodzić, — narobił się w polu tyle, to i należało mu się spocząć przecie ksynkę. Nie była wcale markotna na niego, że aż do soboty następnej nie był; kiej w sobotę przyjdzie znowu, to ucieszą się razem na długo.

Więc w sobotę, — gdy już wieś cała we śnie spoczywała głębokim, — wyszła z chaty i przy opłotkach czekała na niego, takusieńko jak przed tygodniem.

Takusieńko księżyc świecił na niebie, tyle że go dobrze połowa ubyła.

Czekała już chwilę, — a Jaśka nie było widać, — marudzi chłopak. Dochodziły razporaz do jej uszu jakby zmącone głosy dalekiej rozmowy: nadsłuchiwała, kiej zaraz milkło wszystko, — muszą gdzie w chacie gwarzyć jeszcze.

Potem było spokojnie znowu i głucho, — nie wygrywał dziś owczarek na fujarce, tylko... Zdawało jej się, jakby posłyszała odgłos harmoniki. Jasiek miał harmonikę i umiał grać, tylko gdzieby miał grać teraz!

Przywidziało jej się chyba.

Rękę, na której miała opartą głowę, opuściła nagle do połowy i wsłuchała się z natężeniem, — znowu usłyszała wyraźnie harmonikę.

— Licho jakie abo co? — Rozpoznawała nawet melodyę dokładnie, — juści Jasiek gra, bo to jego piosenka, — ino gdzie?

wdzie ze sobą w ciągłem nieporozumieniu, ale unikające w ostatnich czasach zajść burzliwych, pokłóciły się nareszcie o Hurkę i Kościuszkę. Czytelnicy zapewne zdziwią się, jak można zestawić dwa takie nazwiska. Że można, dowiódł „Czas“, a raczej p. Koźmian, autor artykułu w „Czasie“ o Hurce. Cudowny był to artykuł! Znać było, że pisała go niepospolita głowa, człowiek genialny, „leżący kapitał“, jak sam p. Koźmian pisał niegdyś o sobie w „Gazecie Polskiej“. Naprzód p. Koźmian twierdził, że sława wojenna jest największą. Jeżeli myślimy o Cezarze, Aleksandrze Wielkim, Napoleonie, to ma zapewne p. Koźmian słuszność, lubo i tak należałoby zrobić poprawkę i powiedzieć, że jest „jedną z największych“, bo z pewnością Szekspir więcej jest dziś znany i popularny, aniżeli Aleksander Wielki, o którym nic nie wiedzą często w kołach uczęszczających na wyższe miejsca teatru, a o którym wie inteligencya jedynie dzięki podręcznikom szkólnym. Ale dla p. Koźmiana to sława Szekspira, Kolumba, Kopernika, Homera, Rafaela jest niczem wobec sławy jenerała Hurki. On nie przypuszcza, że za lat sto o Moltkem nawet zapewne będą ludzie tyle wiedzieli, ile my dziś wiemy o Marlborough'u, choć postać ta pod względem znaczenia i wpływu na dzieje sobie współczesne dziesięćkroć przerasta Moltkego. P. Koźmian zapomniał, że takich jenerałów jak Hurko było w ciągu istnienia pisanej historyi lekko licząc 10 tysięcy, z których przynajmniej połowa większych czynów dokazała, a przecież nawet ich nazwisk ani p. Koźmian, ani nikt inny w dziesiątej nawet części nie wyliczy. Owszem, można powiedzieć, że oprócz kilkunastu wielkich wodzów, co światem wstrząsali, lub których pamięć nie zatarła się dzięki wielkim poetom, nie ma nic więcej nietrwałego jak sława wojenna. Kto oprócz nas n. p. wie coś o Chodkiewiczu, choć zwycięstwo Kircholmskie w dziejach sztuki wojennej należały do najwspanialszych. Z przykrością dla dumy narodowej przyznajemy, że nawet o Janie Sobieskim inteligentna Europa nie wie dziś nic wcale, choć potrzeba wiedeńska sławna była na świat cały, choć była jednym z największych wypadków wieku XVII.

Wyszedłszy z fałszywego założenia, brnął dalej p. Koźmian po pas w nonsensach, aż dobrnął do Kościuszki. Chciał się niby wznieść na najwyższy szczyt bezstronności, z czego wypadło, że jak my czcimy Kościuszkę, tak dla Rosyan wielkim jest Hurko. Trudno zaiste wymyślić zabawniejsze zestawienie. Pomińmy zupełnie to, że Kościuszko był Polakiem, wymażmy zupełnie naszą narodową wrażliwość, zapomnijmy, że Hurko był satrapą Królestwa. Ale każdy uczciwy Rosyanin przyzna, że zestawienie tych dwóch postaci obok siebie jest kolosalnie zabawne. Hurko, zwykły podkomendny jenerał, idący tam, gdzie mu iść kazano, według planu opracowanego w sztabie — Kościuszko zaś to wódz naczelny, dyktator, to człowiek, w danej chwili mający królewską władzę. To jedno już wyklucza wszelkie zestawienie, a cóż dopiero gdy weźmiemy na uwagę, że Kościuszko był naczelnikiem narodu, walczącego o swoją wolność, a Hurko naczelnikiem paru dziesiątek tysięcy żołnierzy, bijących się z Turkami, bo tak się carowi podobało. W Kościuszce każdy, choćby nie Polak, widzi ideę, w Hurce każdy, choćby moskal, tylko dobrego dowódzcę korpusu. Bądźmy zupełnie sprawiedliwi i powiedzmy, iż Hurko był nawet lepszym jenerałem od Kościuszki, ale bo też sława tego ostatniego nie polega na zdolnościach wojskowych. Gdybyśmy przebiegli myślą nasze dzieje, to z pewnością znaleźlibyśmy w nich stu wodzów, którym Kościuszko nie dorównał zdolnościami. A jednak o tamtych zapominamy, a Kościuszkę wielbimy nie jako wielkiego wodza, ale jako reprezentanta idei. Jako takiego wielbiła go niegdyś cała Europa i dziś jeszcze o nim pamięć w niej całkiem nie zagasła. Gdybyśmy dalej chcieli przeprowadzać porównanie, gdybyśmy wzięli pod uwagę charakter i przymioty, to byśmy doszli do przekonania, że dwóch takich kontrastów jak Hurko i Kościuszko nie było chyba na świecie. Ale i to, cośmy powiedzieli, jest już dostateczne do wykazania, że p. Koźmian plótł jak na mękach. A najzabawniejsze to, że „Czas“ nazywa bezczelnem kłamstwem twierdzenie, że porównał Hurkę z Kościuszką. Przyjaciele p. Koźmiana zaręczają, że on tak „nie myślał“. Być może, ale zkąd możemy wiedzieć, co p. Koźmian myśli, jeżeli nie z tego, co pisze. Lepiej się przyznać, że palnęło się głupstwo. Wszakże to nie pierwsze i nie ostatnie.

Niedawno donosiłem, iż hr. Ignacy Milewski ozdobił kościół Maryacki wspaniałem oknem kolorowem, tak zwanym witrażem. Okno to umieszczone w presbyteryum ze strony kościoła św. Barbary, otrzymało pendant ze strony przeciwnej od zakrystyi, dzięki ofiarności hr. Antoniostwa Potockich z Olszy pod Krakowem. Wysokość okna wynosi 14 metrów, na której to przestrzeni znajdują się witraże prostokątne wielkości 1 metra. Kilka z nich środkowych zlewa się w jednę całość, będącą kopią obrazu N. P. Maryi Częstochowskiej, otoczoną herbami kapituł polskich. Nad wizerunkiem Matki Bożej wznosi się orzeł biały, umieszczony wśród czterech herbów Krakowa, Warszawy, Wilna i Poznania. Nad temi znowu herbami unoszą się w trzech witrażach postacie św. Antoniego, św. Anny i św. Celestyna, jako patronów fundatorów. Niżej podobizny Matki Boskiej są herby województw oraz kilka herbów rodzin polskich. Cały ten transparent otacza tło niebieskie, gwiazdami zasiane. Piękna ta świeża ozdoba kościoła Maryackiego, ustępuje nieco według znawców pod względem wartości artystycznej oknu fundowanemu przez hr. Milewskiego. Różnica ta zapewne powstała z powodu, iż okno hr. Milewskiego zostało wykonane we Francyi, która zawsze przoduje na polu wszelkiej sztuki, a więc i zastosowanej do przemysłu, a okno hr. Potockich wyszło z zakładu wiedeńskiego, Geylinga.

Dyrekcya poczt i telegrafów ma nieustający kłopot z telefonami w Krakowie. Wpłynęło do niej 40 nowych podań o urządzenie stacyi telefonicznych, które zaledwie w połowie może przychylnie załatwić. Przeszkadzają jej w tem właściciele kamienic, broniący się zawzięcie przed umieszczeniem na nich tak zwanych stojaków, czyli dźwigarów pod druty telefoniczne. Panowie ci obawiają się piorunów i brzęczenia drutów, mogących im przerywać sen dobrze zasłużony. Dyrekcya więc oświadczyła im, że gotowa urządzić własnym kosztem gromochrony i zabezpieczy ich za pomocą wałeczków gumowych od możebnego wyrywania z objęć Morfeusza. Może w ten sposób nareszcie uda się dyrekcyi poskromić zaściankowość naszych panów kamieniczników.

W „Związku literackim odbyła się pogadanka na temat popularyzowania wiedzy za pomocą podręczników. Prelegentem był p. Konstanty Lipowski; w dyskusyi brali udział profesorowie uniwersytetu, literaci i prawnicy. Z zestawień bibliograficznych okazało się, iż jedynie wydawcy warszawscy położyli na tem polu niejakie zasługi. W Galicyi wychodzi wprawdzie sporo podręczników, ale jedynie do szkolnego użytku. Wydawcy-księgarze obawiają się strat materyalnych. Należałoby więc może oprócz Towarzystw Oświaty ludowej, założyć Towarzystwo Oświaty dla inteligencyi. Nie jest to żaden żart, bo idzie o to, aby ludzie wykształceni w pewnym zawodzie, pracujący na specyalnem polu, mogli przyswajać sobie w sposób przystępny wyniki badań naukowych we wszystkich kierunkach wiedzy ludzkiej. Przed 30 laty istniało już w Krakowie takie Towarzystwo, noszące nazwę „Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych“, któremu jednak zarzucano, że nie było ani tanie ani pożyteczne. W zarzucie tym była przesada i Towarzystwo nie dlatego upadło, jakoby nie pojmowało swego zadania, lecz z powodów, iż nieżyjący już dzisiaj założyciel jego, wskutek strat materyalnych na

---

Zdawało jej się, że na ciemnem tle jednej chaty z drugiego końca wsi rysuje się jasny smug światła, padający z okna.

A może jej się tylko tak widzi?

Tam gospodarskie same stoją chaty. A może to u Bartków, — a może to Jasiek u Bartków gra?

Święta Matko Częstochowska! może to Jasiek u Bartków gra?

Wyprostowała się nagle, jakby krew w niej w lód stężała. Potem rzuciła się naprzód, otworzyła szybko furtkę i wybiegła na drogę.

W niepewności, z bijącem sercem biegła przez wieś do tego światła, które z okna padało.

W miarę jak się zbliżała do Bartkowej chałupy, rozpoznawała coraz wyraźniej głosy rozmowy, — i to światło to z ich padało okna.

Serce jej biło jak młotem i oddech wydobywał się głośno z pół otwartych ust, gdy stanęła przy ich chacie. Czoło przyłożyła do chłodnej szyby okienka i zajrzała do wnętrza izby...

Wtedy było jej, jakby ją kto młotem kowalskim naraz w piersi uderzył, — dech jej zaparło, i serce bić przestało.

Szeroko rozwartemi oczyma patrzała, czy to prawda, czy to prawda być może?!

Jasiek z Maryną siedzieli razem na ławce pod ścianą, on trzymał na kolanach harmonikę, pociągając ją czasem, jak dla zabawki. Bartkowie starzy siedzieli przy stole drewnianym, i gwarzyli wszyscy wesoło przy pełnych kubkach.

— Pokłonił się starym o Marynę pono.

W pierwszej chwili zawrzała w niej z całą mocą duma kobieca, wyprostowała się butnie i ujęła pod boki.

— Takie to twoje kochanie, — na dzień, na dwa chciałeś mnie tylko? Sobaczy synu jeden, obaczysz, że potrafię równak żyć przez ciebie.

Potem przyłożyła znów czoło do szyby zimnej, jakby jej sprawiała rozkosz piekielną ta hańba jego, na którą patrzała.

Gorący oddech wpół otwartych jej ust osiadał coraz większem kołem na szybie, aż wkońcu zakrył jej wszystko przed oczyma.

Wtedy, gdy nie widziała już nic, począł jej zły duch jakiś za tą szybą zaparowaną najwstrętniejsze przedstawiać obrazy. Widziała, jak objął w pas Marynę, jak ją całował i pieścił. Potem zaczęło jej wszystko tańcować przed oczyma, Jasiek i Maryna byli niby maszkary piekielne, które wykrzywiały się i podrywały wstrętnie. Wpatrzona w to wszystko błędnem okiem, — rozmyślała, sama nie wiedząc skąd, o tych swoich snach minionych, o tych cudnych marach szczęścia, o kochaniu swem, jakby to wszystko pięknie być mogło, gdyby ona siedziała tam przy nim na miejscu Maryny — jakby to wszystko cudnie być mogło, gdyby nie była wzgardzoną, nie patrzała pod oknem sama, jak inną tulił do siebie.

Te uczucia wszystkie niejasne, nierozwikłane wzbierały coraz bardziej, coraz potężniej w jej sercu, aż w końcu — porwała się jak wilczyca zraniona, chwyciła za włosy swoje jasne obiema rękoma i zatargała zapamiętale. Otworzyła już usta, aby krzyknąć wściekle. ale wstrzymała się wczas i zagryzła do krwi wargę, — aby się nie zdradzić.

Potem zwróciła się nagle i jęła uciekać, uciekać z wszystkich sił.

Byłaby uciekała tak na koniec świata, gdzie do morza, aby na samem dnie jego ukryć się ze swoim żalem, — choć do piekła, aby tylko nie widzieć tego, co przed chwilą widziała.

Gdy przybiegła do matczynej chaty, stał przed nią krzyż tak poważnie, oblany światłem księżyca, — wiatr zerwał kilka łodyg powoju i wiewał niemi teraz.

Taką miała potrzebę przytulenia się do czegoskolwiek, — choć paść na ziemię i do niej przytulić gorącą pierś i ochłodzić rosą nocną ogień serdeczny.

Choć pod krzyżem uklęknąć, objąć go ramieniem i schronić się u niego.

Przypadła więc do krzyża i objęła pokryte zielenią drzewce jego białemi ramiony.

— O Jezusińku ty mój, Jezusińku słodki,

innem polu, powikłał się w interesach i zaniedbał sprawy wydawnictwa. Z dzieł wydanych przez owo Towarzystwo przypominam: „Geografię dawnej Polskiej“ Tatomira, „Dzieje literatury przedchrześcijańskiej“ Szujskiego, „Świat roślinny“ Müllera, „Sztukę“ Łepkowskiego, „Rząd reprezentacyjny“ Stuarta Milla i „O szkole“ Juliusza Simona. Były to zatem wszystko podręczniki, przeznaczone dla inteligencyi. Możeby wznowienie takiego Towarzystwa zaradziło odczuwanej potrzebie. „Związek literacki“ miałby wdzięczne zadanie, gdyby podjął się tej misyi.

Ze sprawozdania komisyi teatralnej dowiadujemy się, iż od 1 kwietnia do końca grudnia przedstawiono w teatrze 49 sztuk, danych 131 razy. Cyfry to wymowne. Dowodzą naprzód, że wybór sztuk nie był szczególny, jeżeli przeciętnie nawet trzy przedstawienia na jednę nie przypadają. Większa część premier była grana zaledwie dwa razy. Wątpić należy, aby wszystkie były tak złe, więc oprócz nieszczególnego wyboru, składają się i inne przyczyny na to dziwne niepowodzenie „nowości“. Widocznie dyrekcya jest nerwowa, żądna nieustannej odmiany, zrażająca się łatwo niepowodzeniem. Znawcy teatralni wiedzą, iż często sztuka, nieściągajaca widzów na pierwsze przedstawienie, cieszy się później stałem uznaniem ze strony publiczności. Trzeba ją tylko dobrze wystawić, a nie po paru próbach wyprowadzać ją na scenę. Jestto rzeczą całkiem niemożebną, aby jedni i ci sami prawie aktorzy w ciągu czterech miesięcy wyuczyli się sztuk 49. Ztąd najżyczliwsze nawet Dyrekcyi organy wciąż zarzucają grającym spuszczanie się nieustanne na suflera. Inaczej przy tym systemie być nie może, bo nie jestto stan normalny, lecz gorączkowy. I w przeszłym tygodniu zaledwie przedstawiono dwa razy „Zły zasiew“ Vischera, dano dwa razy „Ostatni akt“ Jeske Choińskiego, a po tych dwóch nowościach widzieliśmy trzecią nowość „Łapowników“ A. Ostrowskiego. Przynajmniej, że ta ostatnia sztuka jest całkiem na czasie.

K. Bartoszewicz.

Żadne sofizmaty, zwalczające żałobę narodową twierdzeniem, „że żałobę obchodzi się

— wyrzekała takim głosem, jakby jej serce rwało się na strzępy; i łzy gorzkie spływały po jej policzkach.

A gdy spojrzała w górę, do Pana Jezusa, ujrzała poschnięte koronki, które już dawno temu zawiesiła, i oderwane wiatrem łodygi, kołyszące się nad nią w powietrzu.

Na chwilę zamilkło wszystko w jej sercu, jakby sobie coś nagle przypomniała, — przypomniała sobie słowa matuli: aby cię ino Bóg nie pokarał, że o Nim zaboczyła.

— Pokarałeś mnie, Jezusińku, pokarałeś mnie, — wybuchnęła płaczem gwałtownym, zrywającym jej piersi.

Tak jej było żal teraz, tak żal, że zapomniała o Nim, który tak litościwie w swojem opuszczeniu spoglądał z góry ku niej.

Wiatr, zawiewając od chaty gospodarskiej, doniósł tony harmoniki i gwarne głosy i zmącił je razem z łkaniem dziewczyny.

— Pokarałeś mnie, Jezusińku, pokarałeś mnie.

Zamiast iść do chaty potem, poszła na pole, uwiła z bławatków koronki cztery i powiesiła je na krzyżu: po jednej na każdem ramieniu krzyża, jednę nad głową Chrystusa, jednę pod jego stopami.

Na bławatkach drżały jeszcze krople rosy świeżej, a gdy wiła z nich koronki, padła między nie i łza niejedna. — i błyszczały potem na krzyżu jeszcze długo w słońcu porannem krople rosy i łzy.

Młodzież — o roku żałoby.*)

Żadne sofizmaty, zwalczające żałobę narodową twierdzeniem, „że żałobę obchodzi się tylko po umarłych, a naród nie umarł, lecz żyje“. — nie zmienią dla nas tego faktu, że w r. 1795 naród polski stracił odrębność państwową, najdroższy skarb każdego żyjącego społeczeństwa, najskuteczniejszą dźwignię pomyślności ekonomicznej, rozwoju umysłowego i cnót obywatelskich.

O tem, że naród żyje, sami wiemy najlepiej, bo życie jego czujemy we własnem sercu: ale właśnie dlatego uważamy za swój obowiązek przypomnieć całemu światu, że na cały przeciąg stu lat ostatnich patrzymy jak na wielką przerwę w historycznym rozwoju tysiącletniego społeczeństwa.

Żałobę narodową stawiamy bez porównania wyżej od wszystkich innych obchodów i sądzimy, że poprzećby ją powinni nawet ci, którzy wszelkim demonstracyom z reguły są przeciwni. Wszelkie uroczystości dotychczasowe — nabożeństwa, czy publiczne pochody — łączyły się zawsze z jakąś akcyą, z jakimś czynnem wystąpieniem, i dla tego nie mogły, nieraz wbrew woli swoich twórców, obejść się bez krzyków i rozgłosu. Żałoba narodowa, jako taka, akcyi żadnej nie wymaga: nie polega na żadnem działaniu, lecz na wstrzymaniu się od pewnych czynności (t. j. od hucznych balów), jeżeli więc będzie demonstracyą, to demonstracyą cichą, spokojną, milczącą, cichszą, niż tańce i zabawy tych, którzy się jej sprzeciwiają.

Ciężki los braci naszych pod sąsiednim zaborem nadaje naszemu obchodowi podwójne znaczenie. Będziemy obchodzili żałobę i po tych, którzy przed stu laty cierpieli dla narodu, i po tych zarazem, którzy teraz dla niego cierpią. Będziemy ją obchodzili i za siebie i za nich, we własnem i w ich imieniu: bo im nawet smutku swego nie wolno objawiać tak, jakby tego pragnęli. Nie lękamy się przez to pogorszyć ich losu, ani też popchnąć ich do nierozważnych działań. Jesteśmy głęboko przekonani, że zemstę gnębicieli daleko łatwiej rozdmuchać mogą nieustanne artykuły umiarkowanych dzienników, nieumiejące zdobyć się na bezstronność nawet w omawianiu czysto rosyjskich stosunków, niż cicha, czysto negatywna demonstracya: stosunek zaś Galicyi do Królestwa pojmujemy nie jako stosunek mistrza do ucznia, lecz jako stosunek młodszej braci do starszej, i dalecy jesteśmy od zarozumiałego przypuszczenia, iżby nasze manifestacye miały tam znaleźć ślepych naśladowców.

Po stu latach pracy nad charakterem narodu, po tysiącznych deklamacyach o odrodzeniu społeczeństwa przez pracę organiczną potrzeba nam ogniowej próby. Nie będą nią same składki, choćby najpomyślniejszym uwieńczone skutkiem, bo one świadczyć mogą tylko o dobrobycie materyalnym i o zwiększonej wraz z cywilizacyą ofiarności, która u wolnych, szczęśliwych społeczeństw daleko szybszym postępuje krokiem. Próby takiej nie dostarczą również nabożeństwa, spiewy kościelne i historyczne odczyty, któremi przeciwnicy nasi pragną uczcić żałobną rocznicę; w najlepszym razie będą to tylko czyny energicznej mniejszości, objawy rzutkości jednostek, przy biernym udziale ogółu. Tylko żałoba narodowa może być probierzem całego społeczeństwa. Od wszystkich zarówno, od najwyższych i najniższych, od najwykształceńszych i najmniej wykształconych żąda ona jednakowo czynnego współdziałania i jednakowego poświęcenia, najsłabsze i najsilniejsze charaktery na równą wystawia próbę: a jak u człowieka poszczególnego odmówienie sobie jakiejś przyjemności jest najszczytniejszym dowodem doskonałości moralnej, tak zbiorowe zaparcie się całego społeczeństwa świadczyć będzie najwymowniej o jego duchowem odrodzeniu, o sile jego woli, o charcie jego charakteru.

---

*) Powtarzamy w tem miejscu — w głównych ustępach — artykuł redakcyjny „Czasopisma Akademickiego“, nowo powstałego we Lwowie organu młodzieży. (Przyp. Red.)

Z estrady i sceny.

Występy Heleny Modrzejewskiej.

I.

...Wsłuchany w muzykę jej głosu i zapatrzony w mieniące się barwy oblicza, ulegałem chwilami wrażeniu, że stoję przed obrazami mistrzów włoskich z czasów *Cinquecenta*. Kolory gdzieniegdzie starły się, przybladły, miejscami załamało się płótno, lub z wspaniałego fresku ukruszyła się cząstka pierwotna, lecz czar geniuszu nie zginął i — wpatrywałem się w tę artystkę wielką jak w ucztę Chrystusową Lionarda da Vinci lub cudowne malowidła Sykstyńskiej kaplicy, gdzie Botticelli, Perugino, Signorelli i Michał Anioł unieśmiertelnili nazwiska swoje. Jest w Helenie Modrzejewskiej blask renesansowego piękna, — blask, którego czasu tchnienie nie zatarło: Rafaelowski rysunek, barwy Corregia, uduchowienie Bernarda Luini i wszędzie ta poezya odrodzenia, strojąca w urok niewypowiedziany włoskie obrazy 15 i 16 stulecia. Są w franciszkańskim kościele w Lugano freski Luiniego, przedstawiające stacye pasyjne, — a pędzel artysty, jakby lękając się nagiego realizmu i brutalnych akcentów, wyszlachetnił nawet siepaczy, rzymskie nawet katy; coś podobnego dzieje się w kreacyach Modrzejewskiej. Klasyczna dusza artystki cofa się trwożnie przed żywem zwierzęciem w człowieku, a gdy je wcielić w siebie usiłuje, wtedy to zwierzę zawsze wypiękniej i jak przez mgłę różową ludziom się ujawnia. I dla tego najpotężniejszą jest Modrzejewska w rolach klasycznego repertuaru, — dla tego najsilniej przemówiła do mnie w Szyllerowskiej Maryi. Nowoczesna historya teatru zna niewątpliwie artystki, piastujące w duszy równe bogactwo siły dramatycznej, ale zdaje mi się, że wyżyn takiej królewskości nie osięgła żadna rywalka. W bólu jej i gniewie, w obec lordów i siostry Elżbiety, w chwilach nadziei radosnej i u stóp szafotu, była to królowa, — krew z krwi Stuartów. Nasuwało się tu mimowoli porównanie z inną kreacyą Modrzejewskiej, z królową — perweniuszką, wdową po Gasztołdzie, Barbarą Radziwiłłówną. Dwie królowe i cała przepaść je dzieli, — dwie królowe, z których szablon teatralnej królewskości nie stworzył zdawkowego typu. Jedna z tronu i dla tronu zrodzona, druga wyniesiona ku wyżynom korony, jedna zrosła od dzieciństwa z królewską dumą i powagą, druga gość nieśmiały w królewskich komnatach, jedna broniąca historycznych praw królewskości swojej, druga sięgająca po nowe prawa dla siebie. Zrozumiała Modrzejewska odrębność dwóch typów kobiecych i dwie odrębne stworzyła postacie. Z Barbarą wchodził na scenę jakiś lęk dyskretny i chwiejność. W obliczu jej mniej było bólu a więcej zakłopotania, mniej dumy obrażonej a więcej lamentu. Marya Stuart natomiast stąpała po więziennej celi w całej okazałości lwicy zamkniętej, lecz nie ugłaskanej, a w chwilach, gdy kark dumny zginała przed siostrą, to tyle wysiłku było w tej pokorze, tyle nienaturalnych akcentów w wyrazach uległości, że najzimniejszy z widzów czuł bunt potężny w głębinach duszy królewskiej, — protest krwi Stuartów przeciw tej masce niewoli. A potem gdy wobec wyniosłości i żółciowego sarkazmu bękarta w dym się rozpływa komedya pokory i cała Stuart staje przed Elżbietą, jakiż grom Jowiszowy zahuczał na scenie, jak się te źrenice rozwarły, jak cała postać prężyła się, rosła. Fanatyk scenicznego realizmu mógłby tej scenie zarzucić, że była nadto — klasyczną, że w chwilach takich uniesień słowa nie płyną w czystych pasażach, ruchy i mimikatnie układają się według prawideł symetrycznego piękna, lecz zarzut taki możnaby z równem prawem cisnąć Schillerowi: Czyż w chwilach szalonego wybuchu Marya pamiętać mogła o rzeźbionych zwrotach stylowych? Przypominam sobie jeden karton Michała Anioła a raczej szczątki kartonu w starych reprodukcyach. Przedstawia on żołnierzy zaskoczonych

w kąpieli przez wroga. Nadzy wojownicy wspinają się na brzeg, szukają odzieży i broni, z nerwowym pospiechem kryją swe kształty w rozrzuconych ubiorach, a przecież mimo całej drastyczności tematu, nie ma tam ani jednego momentu gminności, ani jednego rysu trywialnego komizmu. Duch odrodzenia wyszlachetnił obraz, duch klasycyzmu dostroił grę Modrzejewskiej do klasycznego dramatu, ujmując w karby namiętność, i spienione gniewu konwulsye w grom koturnowy zmieniając. Nie przeczę, że w nowoczesnej komedyi, zbudowanej według realistycznych prawideł, — komedyi, zrywającym z klasycznym konwenansem w formie i treści, takie pojmowanie sztuki mogłoby zatrzeć indywidualizm autorski i w fałszywe blaski ubrać utwór cały, ale równem wypaczeniem literackiego charakteru dramatycznej kreacyi byłoby wprowadzenia do obrazu szkockiej królowy naturalistycznych momentów.

Daleki od ślego pietyzmu dla narodowych wielkości uznaję w Helenie Modrzejewskiej najszlachetniejszą reprezentantkę klasycznego repertuaru i wśród gwiazd scenicznych Europy napróżno szukam potężniejszej, napróżno równie potężnej Schillerowskiej Maryi. Adela Ristori nie wzniosła się na wyżyny polskiej bohaterki. I chwilami zdawało mi się nawet, gdy w wieczór poniedziałkowy mistrz nowoczesny Sudermann przemawiał do nas ze sceny, że ta wielka artystka posiada przedziwny talent metamorfozy, że umie jednem „Stań się“ potargać więzy klasycyzmu, i wcieliwszy się w Magdalenę Schwartze, być niezrównaną tłomaczką nowych prądów, przedstawicielką scenicznego realizmu à la Eleonora Duse. Chwilami... tak! Były momenty w grze pani Modrzejewskiej o porywającej prawdzie i piękności, — był taki moment w chwilach rzewnej zadumy, gdy nagle wspomnienia jak dźwięk kołysanki, słyszanej w dzieciństwie, lub baśń czarodziejska, którą piastunka do snu ją niańczyła, w duszy jej śpiewały. I potężną była Helena Modrzejewska w chwili, gdy pastorowi tłomaczy wszystko, co parło ją wyżej i wyżej ku szczytom i blaskom słonecznym, a z ust jej pada jak wielka, niewyjaśniona tajemnica słowo zagadkowe: Wina! „Winnymi stać się musimy, jeżeli wznieść się i urość pragniemy.“ A potem ta scena z ojcem, ta gama uczuć różnorodnych, gdzie serdeczna miłość i nieubłagana duma kobiety, zawdzięczającej wszystko sobie i tylko sobie, mienią się jak barwy w kalejdoskopie, — ileż tam było prawdy i porywającej poezyi. A jednak, sumując wrażenia moje, znalazłem jakieś tchnienie zaćmiewające mi tę postać wykąpaną w artystycznym cygaństwie, której burze targały splotami włosów złocistych i pierś rozpierała namiętność, tę naturę dziką i nieokiełznaną, miotającą się w klatce ojcowskiej jak tygrysica dzika i drażniona, te brutalne instynkty, spragnione kruszyć, deptać i śpiewem mordować („niedersingen“), ten wstręt do nizkiej pruderyi i małomieszczańskiej ciasnoty, ten jaskrawy koloryt cyganki, dla której hotel, wagon i scena są domem mieszkalnym. Wielka przedstawicielka scenicznego klasycyzmu wypięknila postać Magdaleny i pewne rysy jej indywidualizmu osłoniła gazą błętną. Jeden tylko szczegół przypomnę, — ostatnią scenę między Kellerem a bohaterką sztuki. Chwila ta żywo została w pamięci mojej od czasu występów pani *Ludowej.* Gdy wstrętny karyerowicz ofiaruje rękę śpiewaczce za cenę porzucenia nieprawego dziecka, wtedy warszawska artystka zmienia się w samicę. Jej krzyk: *„Mio caro, mio bambino“*, to nie liryzm serdeczny, lecz jakiś strach przeraźliwy, a potem wrzask nieludzki, graniczący z furyą zwierzęcą, gdy drzwi rozdziera i zgrzyta: „Precz! Precz! Tam!“ W chwili tej miota się pani Ludowa po scenie, dobierając w ruchach, mimice i głosie najjaskrawszych kolorów, — pani Modrzejewska natomiast barwy tu łagodzi: zrazu szept rzewny macierzyńskiej pieszczoty, a potem więcej protest dumy obrażonej, niż drapieżna wściekłość lwicy, której młode wydarto. Magdalena gościa naszego jest bezwarunkowo artystyczną kreacyą, ale indywidualizm Heleny Modrzejewskiej, wykarmiony inną tradycyą, obniża niekiedy o pół tonu brutalniejsze akcenty wbrew intencyom autora.

O *„Adriennie Lecouvreur“* w niezrównanej interpretacyi wielkiej artystki pisałem przed kilku laty na innem miejscu. Tu powiem tylko, że gość nasz słynny, mimo chwilowej niedyspozycyi, zachwycał wdziękiem rokokowym, którego cechy stylowe giną niestety na scenach europejskich. Mimowoli przypominały mi się Dzieje rewolucyi Hipolita Taine'a i słowo Talleyranda, że „kto tych czasów nie poznał, ten nie wie, jaką może być w życiu swoboda i szczęśliwość.“ Ale ram rokokowych szukałem napróżno na ubogiej scenie poznańskiej. Ani nici złotych i srebrnych rozsutych na sufitach i ścianach, ani kapryśnej fantazyi w ornamentyce, ani stylu w meblach; nie powstało przed okiem mojem to potępione a jednak tak piękne *rococo* i musiałem w myśli tworzyć sobie tło charakterystyczne dla tych peruk i pończoch i ludzi, — musiałem przypominać sobie komnaty poczdamskiego zamku z obrazami Watteau i Bouchera, i tem rozkosznem dziwactwem w każdem cacku, każdym sprzęcie, każdej arabesce. Biedna scena! W ubogich ramach jednak niekiedy piękne spotykam obrazy, — wśród ludzi zaludniających deski, „które świat oznaczają“ talenty wielkie i wielką przyszłość wróżące. Dziś wymieniam tylko jedno nazwisko: *Sosnowski.* Po świetnych kreacyach Zygmunta, Mortimera i księcia w Adriennie jestem o jutro młodego artysty spokojny. Lękam się tylko, że jutra tego święcić nie będzie na poznańskiej scenie.

Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(„Kuryer w wojnie z kobietami. — Nawróceni. — Warchoł w spódnicy. — Gwałtu co się dzieje. — W obronie Wielkopolanek.)

Reprezentant średniowieczyzny na poznańskim bruku, wiecznie zadąsany na „Masonów“, liberałów i patryotów „Kuryer poznański“, raczył w bieżącym tygodniu zainteresować się dwukrotnie piękniejszą połową rodzaju ludzkiego. Nie chodzi tu bynajmniej o tę zachwycającą cząstkę publiczności naszej, która pieczętuje się herbem „ładu i porządku“ — o! nie! o takiej połowie bowiem mówi się więcej jak „piękna“, mówi się wielka, mądra, święta itd. — tu temat skromniejszy wyłonił się z „Kuryerowego“ kałamarza, a imię jego „Puch marny“. Nie sądźcie jednak, wielkopolskie panie, że to jeden z nadwornych poetów „ładu i porządku“ wyśpiewał tam sonet o „słodkich niebiankach i raju mieszkankach“, — nie! zebrało się „Kuryerowi“ na wojnę z kobietami i palnął im dwa kazania: jedno o moralności, drugie o „politycznej dojrzałości“. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że jest pewna kategorya ludzi, którzy po rozmaitych *„ten... tego...“* w życiu, po czarujących szumkach i dumkach, gorących westchnieniach i gorętszych jeszcze pieszczotach rozpoczynają komiwojażerswo najczystszej „cnoty“. Za młodu żyli — jak mówi Magdalena w „Gnieździe rodzinnem“ — życiem pełnem i bujnem, pijąc do dna kielich rozkoszy, — Epikureje w czynie i teoryi. A potem nagle, jak ów Keller z Sudermanowskiego dramatu — „J u n g B i s m ä r k e r“ nazwał go jeden z krytyków berlińskich — zakładają en gros i en detail handel pruderyi, a w dodatku może dla karyery w konsystorskie wstępują podwoje. Podobni oni do pewnego typu bigotek, których młodość była jak szampan. Z kryształowej czary piły szał i rozkosz, drwiąc z konwenansu i pojmując życie jak greckie poganki, a gdy włos bieleje i przesyt w duszy zagości, wtedy korzą się przed krzyżem, odprawiają nowenny, pisują listy do św. Józefa i rumienią się,... rumienią, gdy ktoś w salonie powie n. p. „koszula“.

I zarumienił się „Kuryer poznański“, gdy oko jego spostrzegło girlandę panien poznańskich, podziwiających grę Modrzejewskiej w roli Magdaleny z „Gniazda rodzinnego“. Biedne dziewczęta popełniły istotnie przerażającą zbrodnię. Ujrzały kobietę, która rzuciła duszną cytadelę ojcowską, a pnąc się wyżej i wyżej ku słońcu, na stromej drodze spotkała różę miłości i wonią jej odurzona — upadła. Na szarym widnokręgu był to jedyny płatek błękitu, więc ręce ku niemu wyciągła, a potem dziecię swoje tak ukochała gorąco, że nawet kosztem życia ojcowskiego jak tygrysica je strzegła. Ha! być może, że widok takiego potworu gotów poplamić anielskie dusze niewiniątek naszych, ale w takim razie, moi panowie, bądźcie przynajmniej konsekwentni i nie drukujcie w dziennikach waszych „pikantnych“ referatów z sensacyjnych procesów, gdzie gwałt przy pomocy hypnotyzmu, manie erotyczne, „Lustmordy“ i tym podobne nadzwyczajności ulegają drobiazgowej analizie. A kto wie, może to nie poczucie moralności sfarbowało rumieńcem „Kuryerowe“ oblicze, lecz gniew straszny na s u i g e n e r i s „warchoła“ w spódnicy. Ta Magdalena bowiem z Sudermannowskiego dramatu to także w swoim rodzaju wróg „ładu i porządku“ — harda dusza zbuntowana przeciw komendzie z a p l e ś n i a ł e g o s t a r c a — umysł samodzielny, któremu za ciasno w ramach filisteryi małomieszczańskiej. Nie dziw więc, że zatrwożył się „Kuryer Pozn.“ i tysiące przeczuć posępnych sfałdowało czoło mamutów. A nuż piękne Wielkopolanki pod wpływem Magdaleny zwrócą się ku potępionej lewicy i i w „młodopolskim“ obozie ramię przy ramieniu staną do walki z ciemnotą, obłudą i hyperlojalizmem lodowym. Na dalekim horyzoncie ukazują się jakieś chmurki zatrważające... coś niby pierwociny sojuszu. Cóż to? Wielkopolanki wlokące lat tyle jarzmo „Kuryera“ i „Dziennika“, — Wielkopolanki, którym bezustannie krzyczano, gwizdano i śpiewano w uszy, że poza próg domowego ogniska wychylać im głowy nie wolno, — Wielkopolanki, którym nucono basem i dyszkantem o Westalkach, kapłankach, żonach i matkach, aby tylko zatamować emancypacyjne zakusy i sparaliżować ich udział w społeczno-politycznem działaniu — te ciche, pokorne jagnięta, wychowywane według słów Magdaleny „do haremów i klasztorów“, haftujące monogramy, szyjące bluzki, flirtujące, tańczące, plotkujące, — te małoletnie istoty zrywają się do energicznej akcyi publicznej. i, żądając prawa głosu w życiu społecznym, proklamują żałobę narodową, nie jako cacka salonowe, lecz jako gorące i uspołecznione Polki-obywatelki, — gwałtu! co się dzieje! „Kuryer“ spazmów dostaje. Dzięki jednak bliskim stosunkom z poznańskimi Eskulapami oprzytomniał nieborak i, lokując ciężar ciała swojego na Pityjskim trójnogu, jak grom zahuczał nad głowami szlachetnych patryotek.

Czarujący zaiste ten dźwięk gromowy „ładu i porządku.“ Przedewszystkiem dowiaduje się naród, że Grono Wielkopolanek ogłosiło odezwę w celach propagandy „demonstracyjnej żałoby“, — następnie otrzymuje trzysta rózg dziennikarskich „polityczna niedojrzałość“ autorek, a w końcu brzmi jak trąba ostateczna akord finałowy: „Wara kobietom od polityki!“ Stało się! Ale niech was to, panie moje, nie przeraża. Mnie n. p. „Kuryer“ już dwa razy wyklął, a z pięćdziesiąt razy przynajmniej drzazgi wbijał za paznogcie. Mimo to jednak miewam się wcale nie źle, humoru nie tracę, a w dodatku tyję — z czego, mówiąc mimochodem, wcale nie jestem zadowolony, bo takie pokłady tłuszczu to śmiertelna rana dla pretensyonalnych młodzieńców. Pozwólcie jednak, że chociaż w dwóch słowach skruszę za was kopję z niefortunnym krytykiem „Kuryerowym“ i w pierwszej linii zapytać go się ośmielę. według jakiego paragrafu Stańczykowskiego kodeksu skreślenie balów *publicznych* z programu żałobnego roku, zyskuje piętno *demonstracyjnej* żałoby. Czyż rezygnacya z kilku *„pas“* mazurowych na sali bazarowej jest prowokacyą wrogów naszych? Czyż zaniechanie hulanki na rok jeden jest politycznym wybrykiem i „chorągiewkowym“ akcentem? Czy potępialiście Czechów za grzeszną demonstracyę

gdy przez kilka lat nie nosili glansowanycb rękawiczek, aby za grosz oszczędzony „Divadlo“ zbudować? A jeżeli mówicie, że rezygnacya czeska wydała owoc realny: *teatr narodowy*, — to z czystem sumieniem powiem ci, tańcząco gromado, że i naszą rezygnacyę podobny uwieńczy rezultat, a gdyby przeczucia moje spełnić się nie miały, to z rezygnacyi tej bądź co bądź popłyną idealne odsetki, których lekceważyć nie wolno.

I jakiem prawem odezwę Wielkopolanek piętnujecie mianem „niedojrzałości politycznej“, skoro w jej treści i formie razić chyba mogła niedostateczna energia i brak ścisłości w określeniu postulatów, ale nigdy brak umiarkowania. Dźwięczała tam jedynie rzewna melodya żalu za utraconą ojczyznę i poważna prośba o ciszę żałobną jak na sieroty przystoi. Ten polityczny występ „Wielkopolanek“ to jeden z najpiękniejszych momentów życia naszego, bo oto! nowa armia wstępuje w szranki publicznego życia i już nie bawidełka, nie kwiaty wonne znajdujemy przy ognisku domowem, lecz przyjaciółki i sojuszniee mężczyzny. W narodach silnych mężczyźni sami dźwigać mogą na barkach swoich obowiązki społeczne, ale nas garstka tylko a wróg potężny jak hufce Kserksesowe. Tu rąk zakładać niewolno, a gdy szaniec po szańcu pada pod naciskiem stosunków, gdy ród męzki zmęczone ręce zakłada apatycznie lub w prądach lodowych szuka ocalenia, wtedy jak Cimbrów i Teutonów niewiasty kobieta-Polka staje na fortecznym wale. Cześć jej zato! Uspołecznienie kobiety pozostaje nieodzownym postulatem narodowego życia.

Sulla.

ECHA POZNAŃSKIE.

(P. Modrzejewska. — Rozmowa z p. Onufrym. — Mój pseudonim. — Djabeł krakowski i djabeł poznański.)

— Modrzejewska przyjechała!
— Modrzejewska była dziś w teatrze.
— Czy masz już bilet na występy Modrzejewskiej?

Modrzejewska!... Oto nazwisko, które z ust do ust przebiega, oto wróżka, która oczarowała wszystkie umysły, a różdżką jej czarodziejską było żywe słowo.

Ach otóż i pan Onufry! Od przedstawienia „Biednej dziewczyny“ nie widziałem go w naszym grodzie.

— Wiemy, wiemy, co pana dobrodzieja sprowadza w mury miasta, cherchez la femme!

— Zgadłeś pan! tak, to O n a. Bilety zamówiłem telegraficznie, a pan szanowny już temperuje pióro?!

— Nie mojem zadaniem oceniać, o ile pięknem jest słońce i co mu zawdzięczamy, i nie ja będę tym wybrańcem, który odda hołd geniuszowi.

— Dalipan! ładnie pan powiedziałeś.

— To też wolno mi tylko mówić, pisać będzie kto inny.

— Rozumiem... niby fachowiec, którego nazwisko jako znane...

— Daruje pan Dobrodziej, ale czuję się obrażonym, ponieważ moje nazwisko, którym pieczętuję „Echa“, nietylko jest znanem pani Modrzejewskiej, ale nawet bywało po kilkanaście razy dziennie na jej ustach.

— Jakto? Ej! Kochany pan pozwala sobie robić reklamę dzięki obecności wielkiej artystki.

— Nie, mój łaskawco. Pani Modrzejewska miała olbrzymiego psa, który zwał się Ortog, był wiernym, łagodnym, a zginął od żądła jadowitego węża w Kalifornii.

— W każdym razie przyznaj pan, że to, co mówisz dzisiaj, okropnie pachnie reklamką dla siebie.

— Odpowiem zapytaniem: Czy pani Modrzejewska reklamy potrzebuje?

— Z pewnością, że nie.

— A jednak w Ameryce jedno *M* afiszowe w wyrazie Modrzejewska było tak wielkie jak brama polskiego teatru.

— Pan daruje, ale ja tam nie byłem.

— A czy kochany pan był przy śmierci Wallensteina?

— Cóż za porównanie?

— Bardzo dobre, tłomaczy bowiem, że czasem trzeba wierzyć na słowo, i że Ortog z Kalifornii i wielkie *M* nie są bajką z tysiąca i jednej nocy.

— Tak, ale nie tłomaczy mi, dlaczego pan nazwałeś się Ortogiem.

Ortog jest wyrazem węgierskim i oznacza „djabeł“, ja zaś okrutnie radbym zostać djabłem i zakwaterować się u Belzebuba, bo tam mają mnóstwo znakomitych ludzi: mędrców, filozofów, dyplomatów, artystow, jednem słowem śmietankę inteligencyi. Przytem, widzi pan, djabeł ma zupełnie inne przywileje, a jaką jest jego potęga, masz pan najlepszy dowód na krakowskim „Djable“.

— Dalibóg! nie wiem.

— A więc zapytaj się pan „Djabła poznańskiego“, który się ukazał we fraczku zapożyczonym u krakowskiego kolegi. Sądziłem zrazu, że ogoniasty i pazurzysty Krakowiak przejechał żywcem przez Mysłowice, dopiero zbliska przyjrzawszy się, poznałem, że frak pożyczany.

— Nie rozumiem pana.

— Nic dziwnego, boś pan nie widział pierwszego numeru pisma humorystycznego, które nietylko, że nosi tytuł „Djabła“, ale nawet postać jego i suknie, to jest winietę, format i t. d.

— Więc jak mam rozumieć pański pseudonim? Jesteś psem, czy djabłem?

— Pragnę być wiernym moim przekonaniom jak pies — pokazać zęby jak on w obronie swojej własności i honoru, a gdyby się znalazła jaka piękna Ewa...

— To będziesz pan szatanem w postaci węża biblijnego.

— Może! ale jako djabeł dobrze wychowany, zapukam do serca bez pożyczanych rękawiczek.

Ortog.

WOLNE GŁOSY.

Oświadczenie

w sprawie

Wydawnictwa dobrych i tanich książek Imienia śp. Ks. Franciszka Bażyńskiego.

Wydawnictwo ś. p. Ks. Franciszka Bażyńskiego jest własnością prywatną, tak jak od samego początku istnienia swego było wyłączną osobistą własnością ś. p. Ks Bażyńskiego.

Nie odebrawszy nigdy wsparcia materyalnego, czy to od społeczeństwa, czy od osób prywatnych, nie ma Wydawnictwo obowiązku składania publicznego sprawozdania ze swej czynności; zabierając dzisiaj pomimo to, jako jedyny obecnie właściciel Wydawnictwa, głos publiczny w sprawie jego, czynię to na życzenie pani prof. Romany Rzepeckiej i rodziny ś. p. dr. Ludwika Rzepeckiego.

Zostawszy w roku 1875ym jednym z trzech współwłaścicieli Wydawnictwa żyjącego jeszcze wówczas Ks. Fr. Bażyńskiego, ś. p. dr. Ludwik Rzepecki zarządzał niem do końca życia, t. j. przez lat 18cie. Przez czas zarządu tego:

1. Wydrukował nakładem Wydawnictwa 162 tysięcy książek, z których rozeszło się między lud do dnia dzisiejszego 134 tysięcy.

2. Opłacił długi, jakie ciężyły na Wydawnictwie w końcu 1875go (około trzech tysięcy marek), przysporzył mu 53 nowych dziełek, i zostawił 31 tysięcy książek stanowiących obecnie majątek Wydawnictwa.

3. Ś. p. dr. Ludwik Rzepecki wykonał ściśle zobowiązanie jakie współwłaściciele w r. 1875 względem samych siebie byli przyjęli i jakie wyrazili w słowach: „Dochody bowiem i wszelkie nawet czyste zyski obracane być mają wyłącznie na utrzymanie, podniesienie i rozszerzenie księgarni, a zwłaszcza na nowe nakłady w gatunku dzieł obecnie w niej zawartych.

4. Ś. p. dr. Ludwik Rzepecki nietylko, tak jak jego wspólnicy, nie brał z Wydawnictwa żadnych osobistych zysków, lecz przez lat 18 kładł w nie bezinteresownie czas i umiejętność, ofiarował Wydawnictwu kilka dziełek przez siebie napisanych, a w ostatnich latach podtrzymywał filantropijną instytucyę przez prywatną ofiarę pieniężną dochodzącą do sumy kilku tysięcy marek.

Do twierdzeń powyższych upoważniają mnie znajomość rozwoju Wydawnictwa, którego od lat 18stu jestem współwłaścicielem, oraz rachunki złożone mi przez rodzinę ś. p. dr. Ludwika Rzepeckiego, skontrolowane przezemnie, syna mego i niżej podpisaną obywatelską Komisyę rewizyjną.

Oddając w ten sposób publiczne świadectwo zasługom, jakie ś. p. dr. Ludwik Rzepecki położył dla Wydawnictwa Imienia Ks. Franciszka Bażyńskiego, czynię zadość memu obowiązkowi względem zmarłego Kierownika tego pożytecznego dzieła.

Władysław Simon.
Jedyny dzisiaj właściciel Wydawnictwa Imienia ś. p. Ks. Fr. Bażyńskiego.

Przekonawszy się o prawdziwości twierdzeń, zawartych w powyższem Oświadczeniu, stwierdzamy je naszem świadectwem:

K. Kozłowski. W. Sokołowski. Fr. Chocieszyński.
Wojciech Łukasz Simon.
Dr. Celichowski (Kórnik, 13. I. 95.)
Poznań, dnia 12go Stycznia 1895.

KRONIKA LITERACKA.

„Dusza obca“. L'âme étrangère „Dusza obca!“ — taki jest tytuł fragmentu pośmiertnego Guy de Maupassant'a. Tylko dwadzieścia stronnic obejmuje początek tego romansu, zaledwie znajdujemy tu ekspozycyę utworu, starczy to jednak, aby czytelnik doznał silnego wrażenia prawdy życiowej, z jaką nieszczęśliwy, wielki autor umiał obrazy swoje malować.... Rzecz dzieje się w salonie hotelowym jednego z miast kąpielowych. Dwóch paryżan rozmawia ze sobą. Dwudziestu zdań z sobą nie zamienili, a znamy już ich charakter. Jeden z nich opowiada swoją historyę, swój stosunek w półświatku i zerwanie. Widzimy jakby w rzeczywistości całą treść takiego życia.... Tymczasem tłum napełnia sale kasyna; coraz więcej spostrzegamy kobiet pięknych, z różnych okolic świata: są tu amerykanki, markizy włoskie, angielki, rumunki. Parę słów się odezwały, a poznaliśmy je jak najlepiej, Towarzystwo to zupełnie kosmopolityczne, banalne i wykwintne jednocześnie, arystokratyczne, malownicze i monotonne. Oczy tych kobiet patrzą na ciebie niebieskiemi oczami północy wraz z całym chłodem północnego nieba; oczami wschodu zadumanemi i nieprzeniknietemi. Uśmiechy drżą na tych ustach delikatnych lub zmysłowych. Słyszymy westchnienia, głosy, przeczuwamy przyzwyczajenia, obyczaje, tkliwość i obojętność różnych tych kobiet. Cały dramat namiętności przesuwa się przed naszemi oczami.

I nic więcej!

Los wytrącił z rąk pisarza pióro — i świetnie rozpoczęte dzieło nagle się urywa.

Zamykamy kaiążkę i smutek ściska nam serce. Przypominamy sobie, jak w ostatnich miesiącach swego życia. Maupassant ustawicznie wołał o niedokończony rękopis. O tej to „Duszy obcej“, zapewne majaczyła zaćmiona wieczną nocą myśl jego!...

Smutek nasz powiększa się jeszcze, gdy myślimy o młodości Maupassanta, o jego dzielnej bohaterskiej postaci, o jego umyśle bystrym i niepodległym.

Czytając „Duszę obcą“, wydaje się nam, że postacie te żyją realnem życiem i w takich samych właśnie warunkach. Ani na chwilę o tem nie wątpimy.

Ponad tym niepospolitym fragmentem unosi się przewodnia myśl autora. Dwoje ludzi, dwa jestestwa, żyją z sobą, kochają się — a zawsze pomiędzy nimi staje niezwalczona potęga dziedziczności rasy. Jeden wyraz, wypowiedziany przez dwoje ust: kobiety i mężczyzny, brzmi jednakowo, lecz jakże się głęboko różni w dwóch tych dźwiękach. Te identyczne słowa nie wyrażają tych samych uczuć. I to stanowi wieczny ból, który sprawia, że najbardziej połączone serca będą zawsze nie jednem, ale dwoma sercami, oddzielonemi od siebie na wieki.

Tak maluje swoje wrażenie po przeczytaniu pośmiertnego fragmentu Guy de Maupassant'a — Paweł Bourget.

* * *

Alfred Nossig. Szkice artystyczne z Wiednia. Warszawa 1894.

Są to, ile wiadomo, listy pisane z Wiednia do „Kuryera Warszawskiego“. Jest tych listów sześć, w których mieści się omówienie architektury, malarstwa i rzeźby wiedeńskiej, oraz krótki rys opisowy polskiej kolonii artystycznej we Wiedniu. Charakter tych listów jest raczej informacyjny, niż naukowy. Jest to rodzaj przewodnika artystycznego, którego w żaden sposób uważać nie wolno za pracę samodzielną i teoretyczną. Listy te, stosownie do swego przeznaczenia, pisane są gładko i potoczyście, a nawet w kwestyach ciężkich z natury i zawiłych nic na łatwości swej nie tracą, a na głębszem traktowaniu nic stracić nie mogą dlatego, że go nie mają.

* * *

O wydanym nakładem „Przegląd Pozn.“ utworze Brandesa p. t. „*Uczucie narodowe*“ wyraża się „Kraj“ petersburski w sposób następujący:

„Jest to mowa, wygłoszona przez Brandesa przy poświęceniu nowego gmachu wolnomyślnego związku studenckiego w Kopenhadze. Autor poddaje silnej krytyce nietylko stosunki istniejące w Danii, ale i stan umysłów. Jeżeli Dania „gaśnie“, te składają się na to wielorakie przyczyny. Kiedy inne państwa skandynawskie dają znaki życia, zmuszając Europę do zajmowania się niemi, w Danii jakoby wszystko obumierało. Norwegia n. p. zwraca uwagę Europy nietylko na swoje znakomitsze, ale nawet na mniej znakomite talenty i wpada nawet w przesadę chwalenia ich przed sobą i przed innymi, w Danii natomiast każdy talent ma przeciw sobie własnych ziomków, którzy go sami poniżają przed Europą. Danią nie rządzi ani arystokracya, ani demokracya, ani gerontokracya — są to rządy starych i młodych starców. Nie ma opinii, a, co za tem idzie, występuje zatrata charakterów. Ludzie talentów dla miłego chleba uchylają pokornie głowę przed luminarzami z pod ciemnej gwiazdy, dziennikarze sprzedają swe przekonania temu, co większą ofiaruje cenę. Brak młodemu pokoleniu uczucia narodowego — socyaliści zarażeni są kosmopolityzmem. Kultura upada, bo niema mecenasów, ani literatury, ani sztuki. A przecież Dania ma ludzi talentu, tylko nikt ich w krajn nie popiera, nikt po za krajem nie reklamuje. Każdą z tych uwag popiera Brandes dowodami, lub też obszerniej motywuje. Tłomaczenie tej mowy ma u nas racyę bytu, bo niejedna uwaga da się zastosować do naszych stosunków, niejedna wada duńska jest i wadą naszą. Przekład odznacza się starannością i jędrnym językiem.

* * *

Teofil Lenartowicz. Wybór poezyi. Petersburg, nakładem K. Grendyszyńskiego r. 1895, str. 354.

Serdeczny lirnik mazowiecki zasługuje na to, aby zebrano i wydano całą po nim pozostałą spuściznę. Jest wprawdzie pewna garstka krytyków, która z pobłażliwością traktuje utwory autora „Lirenki“, ale na większą litość zasługuje ona sama. Dziwnem to żądać od poety, ażeby był takim, jak się komuś podoba. Można zarówno przypatrywać się orłom, bujającym w nadpowietrznych szlakach, jak przysłuchiwać się śpiewom słowika. Lenartowicz śpiewał pięknie i czule, po co więc miał przypinać skrzydła orle? Niesprawiedliwej z gruntu oceny jego utworów przez różne tuzinkowe wielkości przyczyna leży w tem głównie, że L. zbyt mało jest czytany, jak wogóle, z wyjątkiem trzech największych, wszyscy poeci naszej wielkiej plejady. Kto jednak zajrzy do tych „zapomnianych“, ten znajdzie i pierwszorzędne piękności i pokarm dla serc i ducha. A Lenartowicz nietylko nie był pomiędzy nimi ostatni, ale przewyższał ich oryginalnością; sam nie naśladował i naśladować go nie można. Jego poezye to może nie brylanty, ale z pewnością perełki czystej wody. Nikt tak prostemi środkami nie umiał tak do głębi poruszyć. Im więcej oddalać się od niego będziemy, tem więcej rość będzie czar jego poezyi, raz smętnej i żawej, to znów serdecznej i wesołej, podobnej do dumek i szumek małoruskich. Więc dobrze i bardzo nawet dobrze się stało, że wydano ten wybór jego utworów. Niech przypomną one ogółowi śpiewaka, co wiele czuł i umiał grać mistrzowsko na swojej skromnej lirence. Wydawcy należy się podziękowanie i za szatę, w jaką przyodział ten zbiorek. Jest to śliczne wydanie miniaturowe, ozdobione wybornie wykonanym portretem Lenartowicza. Całą wadą wydania jest brak w niem patryotycznych utworów, ale temu winna tylko najszczersza nasza przyjaciółka, cenzura rosyjska. *K. B.*

KRONIKA POWSZECHNA.

Do numeru dzisiejszego dołączamy prospekt Spółki wydawniczej Polskiej w Krakowie, polecającej swoją „Nową bibliotekę uniwersalną“ wydawaną nakładem własnem.

Wiadomości społeczne i polityczne. Prezydent Francyi, Casimir-Perier ustąpił. W miejsce jego wybrano Feliksa Faure. — Układy pokojowe między Chinami a Japonią toczą się wolno. W armii chińskiej panuje największa bezradność. — Ambasadorem rosyjskim w Berlinie zamianowanował car Mikołaj ks. Łobanowa. — W etacie pruskim na rok 1895 i 96, przedłożonym w izbie deputowanych, obliczono dochody na 1,865,173,495 mr., rozchody bieżące na 1,837,214,103 mr., jednorazowe i nadzwyczajne na 62,559,394 mr., razem 1,899,473,497 mr. mr. Niedobór w sumie 34,300,000 mr. pokryje pożyczka. — Gabinet argentyński podał się do dymisyi. — W parlamencie niemieckim przemawiał poseł Stefan Cegielski przy obradach nad interpelacyą w sprawie izb przemysłowych i rzemieślniczych. Mówca żądał mianowicie zaprowadzenia „wykazu uzdolnienia“. Poseł Hektor Kwilecki poparł w krótkiem przemówieniu wniosek stronnictwa centrum o zniesienie banicyi Jezuitów.

Teatr i muzyka. Znana artystka warszawskich teatrów, pani Lüde, zaślubiła artystę-malarza Żmurkę. — Pani Modrzejewska po krótkiej niedyspozycyi powróciła do zdrowia i zamierza przedłużyć pobyt swój na poznańskiej scenie. — W czasie występów pani Modrzejewskiej w teatrze poznańskim kilku artystów miejscowych zjednało sobie wybitne uznanie publiczności. O p. Sosnowskim piszemy na innem miejscu, tu zaś podnosimy z uznaniem grę pani Królikowskiej w roli królowej Bony w dramacie „Barbara Radziwiłłówna“ oraz grę panny Wróblewskiej w roli księżnej z Adrienny Lecouvreur i pana Jakubowskiego w Fedorze. Mniej za to powiodła się pannie Wróblewskiej rola Elżbiety, traktowana bez należytej dystynkcyi i wyniosłości, a wręcz okropnym był lord Burleigh pana Królikowskiego w Maryi Stuart. Niefortunny ten występ powetował artysta świetną grą w roli pułkownika Schwartze w „Gnieździe rodzinnem.“ Kasa teatralna jest w bezustannem oblężeniu. — Na niemieckiej scenie w Poznaniu występuje obecnie słynna artystka niemiecka Barkany. Dotychczas ukazała się publiczności w Frou-Frou i Adrienne Lecouvreur. — Na sali bazarowej w Poznaniu odbył się w środę ubiegłą koncert amatorski na cele dobroczynne. Technicznie wykończony śpiew panny E. zjednał sobie uznanie znawców muzycznych, a niezwykle dźwięczny i sympatyczny głos pani mecenasowej P. skłonił również publiczność do frenetycznych oklasków. Gra na fortepianie pani K. zdradzała wielką rutynę i sporo czucia muzycznego. Wreszcie piękną i silną deklamacyę „Muzyki Jankiela“ wygłoszoną przez dr. K. nagrodzili licznie zgromadzeni widzowie głośnem uznaniem. Na koncercie obecną była Helena Modrzejewska. — Umarła we Lwowie, Julia Piasecka, sympatyczna artystka operetkowa i wodewilowa. — Autor „Jakóba Warki“ p. Daniel Zgliński napisał jednoaktową komedyą p. t. „Rada familijna.“ — Na deskach Wielkiego teatru w Warszawie wznowiono słynny melodramat Suego p. t. „Żyd, wieczny tułacz.“ — W lwowskiej operze występuje jako gość Józefa Carnioli. — Doniesienia z New-Jorku przynoszą bardzo pochlebne wieści o udziale artystów polskich w operze newyorskiej. Z pośród męzkiego personału śpiewaczego w „Metropolitan Opera House“. w sezonie bieżącym wyróżniani są ogólnie nasi Reszkowie i pan Grąbczewski, a pomiędzy primadonnami tej miary co Melba, Sanderson, Nordica Schalchi, sprawozdawcy muzyczni prasy amerykańskiej niepoślednie miejsce wyznaczają znanej dobrze z sympatyii pozyskanych w Warszawie, Mirze Hellerównie. Między innemi „New-York Tribune“ pisze: „Młoda artystka, wyróżniając się już samą powierzchnością, jest obdarzona w sposób niezwykły przymiotami, które składają się na wytworzenie prawdziwej artystki. Jest ona nadobną, sympatyczną, poważną i inteligentną. Przymioty odzwierciadlają się i w samym głosie.“

Z teki aforyzmów

Jerzego Płońskiego.

Oczerniać charakter kobiecy jest przywilejem mężczyzn. Kobieta, uzurpująca sobie ten przywilej, nie czyni ujmy płci swej, lecz tylko sobie. Nie ma bowiem tak źle o kobietach myślącego mężczyzny, któremuby źle myśląca kobieta nie urwała listka z drzewa przyrodzonej iluzyi.

—

Z czem większą goryczą mówi mężczyzna o kobietach, tem goręcej pragnie miłości. Wrażliwe kobiety odczuwają to i nietylko się wzbraniają brać wycieczki jego na seryo, ale przepadają za solą atycką — jeżeli sympatycznym jest im krytyk.

—

Skromności w sądzie o sobie najlepszą formą jest oczernianie samego siebie. Wszystkie inne formy zużyły się. Ludzie dają wiarę oczernianiu o tyle tylko, o ile im przyjemnie delektować się własną doskonałością, występującą plastycznie na efektownem tle.

—

Ludzie nie lubią dobrych, ale ich chwalą.

BIBLIOGRAFJA.

Wojciech Dzieduszycki. Święty Ptak. Powieść historyczna. Lwów 1895.

Leonard Lepszy. Wspomnienia artysty. Kraków 1895. Cena 3 mk.

Bolesław Prus. Opowiadania wieczorne. Warszawa 1895. Cena 3,75 mk.

Fr. Rawita. Racławice. Powieść historyczna. Lwów 1895. Cena 4,20 mk.

Fr. Rawita. Warszawa. Opowiadanie na tle dziejowem. Lwów 1895 Cena 4,20 mk.

Odpowiedzi Redakcyi.

Mel. Numerów tych już nie posiadamy. — „Przegląd Poznański“ kalendarza swojego nakładu nie wydał.

Rt. Prosimy o nadesłanie utworu. O przyjęciu bez przeczytania rozstrzygnąć nie możemy.

E. K. Pani Modrzejewska wystąpi prawdopodobnie jeszcze raz jeden w „Gnieździe rodzinnem“ na poznańskiej scenie. Terminu oznaczyć nie możemy.

Perełka. Wyraz „pan“ jest prawdopodobnie obcego pochodzenia. W etymologii wyraz ten stanowi kwestyę sporną.

Od Redakcyi

W numerze bieżącym rozpoczynamy cyfrowanie stronnic w stałym ciągu. Pierwsza stronnica zatem nosi liczbę 25. W Nr. 2 bieżącego roku raczą czytelnicy, zbierający roczniki, cyfry odpowiednio pozmieniać.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 4. Poznań, Niedziela 27go Stycznia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

POLITYKA.

Nasza polityka.

Niejednokrotnie poruszano myśl utworzenia wspólnego programu politycznego dla Polaków wszystkich zaborów — myśl ta jednak w wykonaniu napotykała zawsze na niezwalczone przeszkody. Rodacy nasi różnych dzielnic łączą się niekiedy, przy wyjątkowych okazyach, w uczuciach, od czasu do czasu powtarzające się zjazdy dają im spossobność do wyrażenia bratniej miłości i wywołują złudzenie, że graniczne kordony nie stają się przeszkodą do jedności duchowej. Gdy jednak nie o uczuciach lecz o przekonaniach mowa, gdy od uścisków i toastów przejdziemy do dysput i argumentów — wówczas każda dzielnica staje na odrębnem stanowisku, każda ma na względzie jedynie swe wyłączne, lokalne interesy i cele. Jest to naturalnym wynikiem różnicy warunków politycznych w trzech zaborach. Każdy z nas innego słucha pana i innym panom podlega, każdy też we wspólnym interesie zachowania narodowego bytu — innych środków chwytać się musi, by cel swój osiągnąć. Ponieważ jednak w zasadniczych rysach położenie wszystkich Polaków jest podobne, więc i w programie naszym politycznym mogłaby się zaznaczyć pewna równoległość głównego kierunku obok niejakich tylko modyfikacyi wywołanych przez różnice w lokalnych stosunkach. Słowem, moglibyśmy się trzymać wspólnych podstaw, a jedynie taktykę odrębną, odpowiednią do okoliczności zachować.

Wśród nieustannej walki społecznych żywiołów, klas, stronnictw, idei i umysłowych dążeń, zaznaczają się przedewszystkiem dwa wielkie prądy, których wszystkie inne kierunki tylko cząstki i jakoby drobne rozgałęzienie stanowią. Jeden z nich jest prądem postępowym, drugi wstecznym. Pierwszy pcha ludzkość naprzód, na nowe drogi — drugi cofa ją w tył i usiłuje w dawnych granicach zatrzymać. Jeden dla drugiego stanowi przeciwwagę, oba mają racyę bytu, a z walki ich wynika ciągły rozwój ludzkości. Siłę żywą, działającą stanowią w nim dążenia postępowe — a kierunek wsteczny pewien rodzaj hamulca, który jego bieg reguluje.

Jeżeli rozpatrujemy krótkie okresy historyi, jeśli wyłącznie teraźniejszość lub niedaleką przeszłość weźmiemy pod uwagę, zwycięstwo jednego lub drugiego z tych kierunków wydawać nam się może rzeczą zmienną, chwiejną i wątpliwą. Gdy jednak wzniesiemy się na wyższy punkt widzenia i ogarniemy wzrokiem wieki całe, musimy dojść do przekonania, że prąd wsteczny na ciągłe i nieuchronne skazany jest porażki, prąd postępowy na stale zapewnione zwycięstwo. Fakt ten wynika z samej natury rzeczy. Ludzkość dąży wciąż naprzód; można jej bieg powstrzymać na chwilę lub opóźniać — lecz, jak rzeki do źródła, tak i jej do pierwotnego punktu wyjścia cofnąć niepodobna. Praca wieków wytwarza coraz wyższą oświatę, coraz pełniejszą cywilizacyą, coraz rozleglejszą i większe masy ogarniającą swobodę. Kto więc dla prawdy, oświaty i dobrobytu walczy, ten z góry wierzyć może i powinien w tryumf swego sztandaru bez względu na to, czy padnie w jego obronie, czy jego własne, czy też następców jego ręce na zdobytym szańcu go zatkną. Kto zaś naturalny rozwój ludzkości tłumić usiłuje, wiedzie bój beznadziejny, stoi na straconym posterunku i co najwyżej tylko upadek swój opóźnić może.

Jestto przyrodzone prawo historyczne widoczne dla każdego, kto w dziejach nie kronikę królewskich rodzin i wypadków wojennych, lecz życie ludzkości wyczytać umie.

Również z natury rzeczy wynika, że pod sztandarem zachowawczym grupują się zawsze te klasy, stronnictwa i instytucye, które w danej chwili specyalnemi przywilejami, na tradycyi opartemi, się cieszą, które swe przeważne stanowisko w społeczeństwie utrzymują kosztem ograniczenia swobody i rozwoju klas innych — przywilejów pozbawionych. Postęp cywilizacyi, rozwój liberalnych i humanitarnych zasad, budzi w nich zupełnie słuszną obawę, że wraz z rozszerzaniem się granic wolności, a stopniowem obalaniem przywilejów runie podstawa, na której swą władzę i znaczenie opierały, stracą racyę bytu i zmuszone będą do abdykacyi na rzecz ogólnego dobra i społecznego postępu. Ich interesa wiążą się ściśle z tradycyą, od przyszłości niczego spodziewać się nie mogą, teraźniejszość ich zadawalnia, więc lękają się zmian które ich koniec przyspieszają. Odwrotnie zaś, do postępowych żywiołów zaliczają się przeważnie wszyscy wydziedziczeni, ciemiężeni, wyzyskiwani, pozbawieni praw i przywilejów, skrępowani w swym naturalnym rozwoju. Wszystkie nadzieje opierają oni na przyszłości: postęp i rozwój idei humanitarnych jest jedynym ich sprzymierzeńcem i obrońcą — dla postępu też i wolności żyć i pracować muszą.

Zdawałoby się, że wybór między temi dwoma kierunkami dla nas Polaków trudnym być nie powinien. Mimo różnicy położenia pojedyńczych grup naszego narodu, każdy wie o tem dobrze, iż uprzywilejowanego stanowiska nie zajmujemy nigdzie, nie dzierzymy władzy, nie stanowimy praw, nie roporządzamy siłą militarną, nie używamy rozległych swobód, opartych na niewoli innych ludzi — nie mamy środków uciemiężania i wyzyskiwania nikogo. Jesteśmy raczej sami przeważnie uciemiężeni, wyzyskiwani i skrępowani w prawach naszych. Jesteśmy dalej jeszcze narodem pozbawionym sił i środków do wydobycia się na wierzch, — narodem biedaków i niewolników, a nie narodem bogaczy i panów. Przeszłość jest dla nas straconą, żadne tradycyjne przywileje nie gwarantują nam naszego bytu — a jeśli się rozejrzymy po szczeblach społecznej drabiny, przekonamy się, że najliczniejsze zastępy naszych braci grupują się u jej najniższych stopni, deptane przez tych, którzy się pną w górę. Czyż w obec tego może leżeć w naszym interesie walka w imię tradycyjnych praw, więzów, przywilejów i instytucyi, z których żadna naszych potrzeb, naszego bytu i rozwoju nie uwzględnia? Czy mamy jakiekolwiekbądź szanse wywalczenia wśród obecnych warunków władzy i znaczenia dla siebie? Czy jest rzeczą możliwą, abyśmy zepchnęli z dominujących stanowisk tych, co je dzisiaj zajmują, a wszystkie ich przywileje wyzyskali dla siebie i starym instytucyom nadali własną firmę? Co do tego punktu nikt się chyba u nas nie łudzi.

Może jednak są pomiędzy nami tacy, którzy sądzą, że najrozumniejszą polityką korzyć się przed tymi, którzy stoją na wyżynie, bo oni wszystko mając w ręku najwięcej dać nam mogą. Pogląd ten jednak dobrodusznie naiwny świadczy o wielkiej nieznajomości spraw i natur ludzkich. Żadna władza nie robi ustępstw, jeśli nie czuje się do nich zmuszoną. Jestto prawo niezłomne i jedynie zmienną jest forma, w której się ono przejawia. Jeśli ludzie, dzierżący władzę patrzą w przyszłość i umieją konieczność prze-

widzieć, natenczas wchodzą na drogę reform; jeśli w zaślepieniu swem i krótkowidztwie bronią się represyą — doprowadzają do rewolucyi. która im ustępstwa narzuca. — My na swoją rękę nie możemy ani wymusić specyalnych dla siebie w naszem położeniu ulg i reform. ani też z pomyślnym skutkiem wywołać rewolucyi. Jesteśmy na to za słabi, a ze słabymi żadna władza się nie liczy. Jedyną więc dla nas drogą jest szczere i ochotne współpracownictwo na polu postępu ogólnego.

Wszelkie dążenia, mające na celu wywalczenie wolności dla szerszych mas — sprzyjają naszym interesom, gdyż otwierają i nam możność korzystania ze swobód ogólnych: wszelkie humanitarne prądy, biorące w obronę uciśnionych, pracują dla naszego dobra. Przeciwnie zaś wszelkie prawa, przepisy, instytucye — ograniczające swobodę osobistą jednostki i jej ludzkie przyrodzone prawa — szkodzą nam jako narodowej całości — gdyż od chwili upadku naszego politycznego bytu, jako naród żadnych praw nie posiadamy, możemy je tylko reklamować jako ludzie.

U nas pod pruskim zaborem w okresie ostatnich lat dwudziestu widzieliśmy zjawiska, które same przez się wiele nauczyć nas mogą. Dla czego było nam najgorzej pod Bismarckowskim systemem? Czy dla tego, że nas książę Bismarck osobiście nie lubił? Nie wierzę, aby czysto prywatne, subjektywne uczucia miały rządzić losami ludów. Żelazny kanclerz nie tyle nienawidził nas, ile nienawidził wolności. Był reprezentantem najskrajniejszej reakcyi, najbezwzględniejszej represyi. najwsteczniejszych dążeń. Wobec drobnej zmiany systemu doznaliśmy pewnej: choć słabej ulgi — i zawsze tylko o tyle ulgi spodziewać się będziemy mogli, o ile rząd nam panujący liberalnemi, humanitarnemi zasadami rządzić się zechce, lub rządzić się będzie zmuszonym.

Tej ważnej, zasadniczej. jasnej, jak na dłoni prawdy, my Polacy dotychczas nie zrozumieliśmy jeszcze. — Wiecznie dajemy się używać za narzędzia przemocy, wiecznie udzielamy poparcia prądom wstecznym. przemocy antycywilizacyjnej i sami kręcimy bicz na siebie.

W Austryi nasi galicyjscy posłowie, reprezentanci narodu, którego bieda jest przysłowiową. walczą przeciw powszechnemu głosowaniu. któreby pozbawione głosu liczne zastępy ich współbraci do udziału w życiu publicznem powołały.

My w Prusach najskwapliwiej uchwaliliśmy podatki na marynarkę i wojsko, zupełnie, jakgdyby armia morska i lądowa pod naszą pozostawały komendą.

Może w obecnej chwili, gdy rząd cesarski porzuciwszy drogę reform, zainaugurowaną przez młodego monarchę, przechodzi na drogę represyi — otworzą nam się nareszcie oczy i przekonamy się, że naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami w każdym narodzie są te stronnictwa, które o wolność i postęp walczą, gdyż pracując dla ogólnego dobra i nasze także popierają interesa.

Warto tu może przytoczyć dla głębszego, a częstego rozpamiętywania pełne znaczenia słowa z mowy posła ks. Wolszlegera: „My Polacy, którzy tak często na własnem ciele doznawaliśmy srogości ustawodawstwa, musimy przy każdej sposobności powiedzieć sobie, że jest rzeczą nader niebezpieczną odgrywać rolę młota, ponieważ moglibyśmy kiedyś znaleźć się w położeniu kowadła“.

I. M.

Przegląd prasy polskiej

zaboru pruskiego.

Znany korespondent poznański do „Czasu“ krakowskiego, wyśpiewujący bezustannie apologje krańcowej polityki p. Kościelskiego a ziejący nienawiścią i fałszem w obec wszelkich prawdziwie umiarkowanych żywiołów, mianowicie zaś w obec tak ostrożnych, rozumnych i zasłużonych polityków jak ks. dr. Wolszlegier, ks. prałat Jażdżewski i p. Czarliński, otrzymał od „*Gazety Toruńskiej*“ nader energiczną nauczkę w Nr. 17. Pismo to, które mimo „brzęczących propozycyi“ z pod sztandarów superlojalizmu wycofało się zupełnie, prostuje fałsze poznańskiego korespondenta i w takich słowach kończy swój artykuł:

„Jest to już smutny zwyczaj, że niektórzy panowie, nie mogąc umieszczać pisanych żółcią artykułów na miejscu, eksportują je do Galicyi. Robotę podobną napiętnowaliśmy już raz z wszelką stanowczością a dziś zwracamy się do redakcyi krakowskiego „Czasu“ z uprzejmą prośbą, aby nie udzielała gościnności płodom nienawiści.“

„*Gazeta Gdańska*“ (Nr. 10) krytykuje ostro wyrażone przez „Dziennik Pozn.“, „Gońca“, „Orędownika“ i „Przegląd Pozn.“ żądanie, aby Koło polskie w sejmie i parlamencie zerwało z dotychczasową zasadą osłaniania *bezwzględną* tajemnicą swych obrad i publikowało referaty z posiedzeń swoich. Artykuł ten kończy się w następujących retorycznych wykrzyknikach:

„Inna atoli rzecz, czy węzły łączące lud nasz z jego wybrańcami zadzierżgnęłyby się silniej skutkiem publikowania uchwał „Kół“ naszych — a jeżeli tak, to czyż spotęgowana akcya na wewnątrz, korzyść niewątpliwa, zrównoważałyby szkody, jakie poniosłaby sprawa narodowa w skutek obniżenia wartości akcyi na zewnątrz? Czyż publikowanie uchwał reprezentacyi naszej, wskazanej przy obecnem ugrupowaniu stronnictw niemieckich na ciągłe lawirowanie, nie krępowałoby jej ruchów? Czy godziłoby się w ten sposób podsycać naszą nieszczęsną politykomanią? Czyż zbyt „jawna“ polityka nasza nie sprowadziła dosyć klęsk na ojczyznę naszą? Czy wreszcie stoi coś na przeszkodzie, aby jak dotąd, tak i nadal, gdy interes sprawy tego wymagać będzie, publikowała reprezentacya nasza to, co uzna za stosowne?

Szczupłe ramy pisma naszego nie pozwalają nam rozwinąć myśli naszych, aleć mądrej głowie — dość na słowie.“

Są to frazesy, które ani jednego z poważnych argumentów naszych, przytoczonych za względną jawnością uchwał i obrad w obu Kołach poselskich nie osłabiły. Do sprawy tej powrócimy niebawem.

Do „*Gazety Opolskiej*“ (Nr. 7) donoszą o ciekawem zajściu na posiedzeniu polskiego „Towarzystwa Przemysłowego“ w Katowicach. Korespondencya brzmi:

„Po dłuższym czasie odwiedził nasze posiedzenie znów sam komisarz policyjny z jednym policyantem. Przeczuwaliśmy wszyscy, że się na coś zanosi, a wiadomo, że kiedy się psa chce uderzyć, to się i kij znajdzie. Program posiedzenia był wyczerpany, gdy nagle jeden z członków zapytuje się jeszcze przed zamknięciem posiedzenia, czy wolno śpiewać. Na to urzędnik w poczuciu swej absolutnej władzy raczył odbąknąć, że to zapytanie ma wnieść piśmiennie, to odpowiedź dostanie, prawdopodobnie za tydzień! Na tem posiedzenie zamknięto i zabrano się do śpiewów. Lecz jakie było nasze zdziwienie, gdy komisarz nagle pikelhaubę włożył, śpiewów zakazał, a nawet do opuszczenia lokalu nas zawezwał. Coby było się stało, gdybyśmy byli podczas posiedzenia zaśpiewali, nie wiem. Prawdopodobnie byłby komisarz posiedzenie rozwiązał. Do „Katowicerki“ zaś dostało się sprawozdanie prawdopodobnie oficyalnie, po 1) że posiedzenie zostało policyjnie zamknięte, chociaż to nie prawda, bo prezes takowe zamknął; po 2) że Towarzystwo zaintonowało jakąś patryotyczną pieśń „mit ihrem Liedermeister an der Spitze.“ (W rzeczywistości do śpiewu jeszcze nie przyszło, a co członkowie chcieli śpiewać, tegośmy sami jeszcze nie wiedzieli, z wyjątkiem pewnie tylko samego p. komisarza; po 3) „unwillig und gemessenen Schrittes verliesen die edlen Polensöhne den Sitzungssaal!!!“

Z tej małej próby każdy nieuprzedzony przekonać

HELENA CEYSINGER.

BŁĘDNY OGNIK.

Przyszła mi raz ochota odwiedzić dawną przyjaciółkę, towarzyszkę lat dziecinnych, wspólniczkę najpierwszych marzeń i snów szalonych. Dusza to była moja, siostrzana, a los ją odniósł daleko, jak prąd falę rzeczną od źródła odnosi. W dziwnej mieszkała okolicy. W miarę jak zbliżałam się do jej ustroni, coraz wyższe piętrzyły się tam góry, coraz gęściejsze rosły na nich lasy, coraz bardziej gwar świata przycichał.

Domek jej stał na górze, ścianą jedną przyparty do skały, jak gniazdo dzikiego ptaka. Z okien jego widać było wielką, zieloną dolinę, za nią ciągnęły się góry i lasy, lasy i góry, nad niemi wisiał szmat błękitu, a czasem z hukiem przelatywały wichry i burze. Dziwnie rozlegle, widno i powietrznie było dokoła. Dusza do śmielszych zrywała się lotów, myśl nizinami życia wzgardziwszy, biegła ku szczytom.

— Wyciągam ramiona ku górom twoim, na wszystkich wierzchołkach chciałabym być jednocześnie, pić pełną piersią aromat tych lasów, tych wichrów czuć potęgę! — mówiłam do towarzyszki lat dziecinnych. Ale ona uśmiechała się trochę smutno i nie chciała dzielić uniesień moich.

— Milszą mi woń wspomnień dzieciństwa, którą przynosisz ze sobą — potężniejsze były naszych serc porywy. O nie odchódź, nie odchódź odemnie! Pamiętasz...

I roztaczała przedemną zapomniane już w części obrazy i sceny, potrącała o zamilkłe od dość dawna struny, a przeszłość, jakby na zaklęcie jej wstawała żywa, świeża jak wiosna, pełna wiary, pełna kwiatów i snów i nadziei. I dobrze nam było razem. Zapomniałam przy niej o tych widnokręgach szerokich, co z taką siłą ciągnęły mnie ku sobie. Wieczór nadszedł. Przez otwarte okno woń kwiatów górskich płynęła do mego pokoju, cienie zaległy góry, z za chmur od czasu do czasu błyskały promienie księżyca.

Stałyśmy przy oknie, wciągając w piersi oddech tej nocy ciepłej, cichej, wonnej i żadna z nas nie miała ochoty przerywać milczenia.

— Co to za zwaliska? — rzekłam wreszcie — dziwna rzecz, w dzień nie zauważyłam ich wcale; teraz dopiero, gdy padło na nie światło księżyca, zabielały pośród czerni lasów.

— Ruiny. Niegdyś zameczek warowny stał tu podobno.

— Ach! cudnież tu u was! Krajobraz cały wygląda jak tło do legendy. Powiedz mi jaką...

Zwróciłam na nią oczy, ale zdawało się, że nie słyszy ostatnich słów moich, bo wzrok utkwiła w jeden punkt doliny i wpatrywała się w niego uparcie, z wyrazem niepokoju i wzruszenia na twarzy. Tam po łące śród bagien i trzęsawisk przechadzało się nikłe, mdlejące światełko. To stawało w miejscu, podnosząc się ku górze wązką, świetlistą smugą, to jakby rozpaczą obłąkane, jakby szalejące z bolu, jakby szukające czegoś, czy kogoś, latało po cichej dolinie, zataczało dziwaczne kręgi, wracało i uciekało znowu. Potem tajemniczy płomyk jakby zniechęcony długą wędrówką po dolinie podleciał ku górze i usiadł na jednem skrzydle starego zniszczonego zameczku, i cichy, a świetlisty przechadzał się zwolna po zrujnowanych basztach, po poszarpanych gzemsach, po strzelnicach, patrzących pustemi oczami. Zmieniał wciąż barwy. Z fijoletu przechodził w purpurę, z purpury w zieleń, albo w smutne światło opalowe, i blaskiem własnym stroił miłośnie stare zwaliska. Na chwilkę zdawały się ożywiać, przybierały dawne kształty wspaniałe, ale gdy on odleciał zapadały w poprzednią martwotę i nędzę starości. Więc smutny zleciał płomyk w dolinę i znowu przelatywał z miejsca na miejsce i przygasał i rozpalał się znowu tułacz błędny.

Spojrzałam na moją towarzyszkę. — Kto on? — Posłuchaj — rzekła. — Niegdyś na tem miejscu wielkie ognie gorzały, płonęły dusze ludzkie żarem pragnień, żarem ofiary i bohaterskich poświęceń. Po tem polu przechadzał się płomień walki, i palił, i dusze ludzkie do śmiertelnej białości rozgrzewał. Na tem polu ścierało się życie ludzkie ze śmiercią. A potem

się może, jak dokładnie i ścisłe te „berychty“ z naszych posiedzeń być muszą!

Wynikiem całej tej szykany będzie to, że założymy osobne towarzystwo śpiewu i to już w najkrótszym czasie. Musimy także nasze statuta zmienić i umieścić, że t śpiewem na towarzystwach zajmować się będziemy, gdyż komisarz twierdzi, że musimy policyi donieść, jeżeli na posiedzeniu śpiewać chcemy! Będzie też trzeba wyrzucić statut, że występujemy przeciwko dążnościom socyalistycznym, za co sąd uznał nasze Towarzystwo za polityczne. Sprawa ta zostanie na przyszłem nadzwyczajnem posiedzeniu załatwiona.“

Jako interesującą próbkę naszej polemiki dziennikarskiej przytaczamy poniżej następujący wyjątek z „*Dziennika Kujawskiego*“ (Nr. 15):

„Amerykanin Edward Belamy napisał opowiadanie pod tytułem: „Świat w roku 2000“, gdzie jest przedstawiony komunizm, do którego dążą socyaliści, w jak najpiękniejszem świetle. Powieść tę wydano w Warszawie, a obecnie drukuje ją „Orędownik“, aby zachęcić lud polski do socyalnej demokracyi. Dziwna to rzecz, gdy się czyta w „Oręd.“ na 3 str. najwyższe pochwały dla teoryi socyalistycznych, na 1 zaś stronie opisuje, jak socyaliści hulają, a pijany socyalista prawi, że największym złodziejem w całej Francyi jest prezydent Perier. „Orędownik“ wcale od siebie nie daje żadnej nagany za to wyrażenie. Może p. Szymański doda od siebie, jak się urządzą socyaliści pod względem religijnym, bo dotąd nie ma o tem w opowiadaniu Belamy'ego ani słówka.“

„*Gazeta Opolska*“ zamieszcza w Nr. 6 następujący przyczynek do historyi szlązkich stosunków:

„Denuncyacya. We Wtorek przybył do redaktora naszego pisma p. Koraszewskiego komisarz policyjny p. Hube i pokazał mu list anonimowy, to jest bezimienny, w którym były zamieszczone oszczerstwa na Towarzystwo polsko-katolickie w Opolu i zagrożenie policyi zemstą, gdyby dała „pozwolenie“ na odegranie teatru. Oszczerstwa były tego rodzaju, że pewien kapłan, który w tym dniu był w odwiedzinach u redaktora, powiedział, iż to nie może być, żeby katolicka osoba mogła coś podobnego uczynić. W istocie nie dziwilibyśmy się, gdyby ze znanej spółki germanizatorów poznańskich lub katowickich K. H. T. podobna denuncyacya wyszła, lecz niestety są poszlaki, iż jakaś parszywa owca wkradła się do Towarzystwa polsko-katol. i podług denuncyacyę wysłała. Denuncyacya nie pochodzi więc z niemieckiej strony, ale z „polskiej“ i katolickiej. Policya rozpoczęła śledztwo, gdyż to jest także wskutek groźby zamieszczonej w denuncyacyi w jej własnym interesie. Denuncyacya pochodzi, jak się domyślać należy, od jakiejś białogłowy.“

„Teatr odbędzie się w tę niedzielę; początek już o godzinie wpół do 6 wieczorem. Z dalszych stron zapowiedzieli się liczni goście, także ze stanu duchownego. Tem bardziej, że ludowi przez nikczemną denuncyacyę chciano zabawę zepsuć, niech się tenże lud jak najliczniej stawi z bliska i z daleka; niech za obrazę, swojej godności i godności Towarzystwa polsko-katolickiego odpowie jak najliczniejszym udziałem, aby dać dowód, że lud polski stoi silnie przy Towarzystwie polsko-katolickiem.“

„*Gazeta polska*“, wychodząca w Berlinie, tak pisze w artykule p. t. „Działalność naszych towarzystw“:

„Wszystkie nasze towarzystwa narodowe w obczyźnie mają za główny cel utrzymanie moralności swoich członków i kształcenie ich w duchu ojczystym. Niestety — wiele z towarzystw za mało na ten cel pamięta; między temi jest dużo i z tych, które — to przy świętościach religijnych posiedzenia swe odbywają.

Są takie towarzystwa, których członkowie najbardziej z wszystkiego uprawiają karciarstwo lub taniec, albo jedno i drugie. Przed posiedzeniem grają w karty, po posiedzeniu także, nieraz bardzo późno w noc lub i do rana. Na posiedzeniach obradują, znowu niemal ustawicznie, o zabawach z tańcami.

Karciarstwo, zbytek tańców, to plaga mocno grasująca w naszych towarzystwach, która zabija w nich życie duchowe — a więc siły moralne wogóle.“

Kampania antipolskiej spółki K. H. T. rozwija się z coraz większą zajadłością. „*Gazeta Grudziądzka*“ i „*Gazeta Gdańska*“ codziennie niemal kruszą kopie z oszczerstwami niemieckich czasopism, stojących na żołdzie tej spółki. W ostatnim czasie nawet „Niemki“ stanęły do walki z Polskością a mianowicie jakaś „Marie Tyrol“ drukująca powieściowy pamflet w grudziązkim „Geselligerze“. „*Gazeta Gdańska*“ z powodu tego kończy takim okrzykiem swój artykuł p. t. „*Pospolite ruszenie*“:

„...No! teraz ciągną na nas „mit Mann und Weib und Maus...“

Niemcy na Polaków, Niemki na Polki, Niemczątka na Polaczątka! Coraz lepiej!“

„*Nowiny Raciborskie*“ piszą w Nr. 9:

„Jakiś tam niemiecki komitet z Berlina nadesłał nam list drukowany, w którym uprasza redakcyę, aby zamieściła w „Nowinach“ odezwę wzywającą do kupowania osobnego rodzaju kart z powinszowaniem, które mają być przesłane — Bismarkowi na dzień jego 80tych urodzin! Odezwa ta nosi napis: „National-Glückwunsch für den Fürsten Bismarck.“

Jak nazwać podobne postępowanie? Żądać od gazety polskiej i katolickiej, aby zamieszczała podobne odezwy, to trochą za wiele. Chyba ci panowie w Berlinie nie wiedzą wcale, czem są „Nowiny Raciborskie“, bo pewnie nie byliby się dopiero wybierali z listem do nas i zaoszczędziliby znaczek pocztowy za 3 fenygi.“

Z polecenia ks. arcybiskupa Stablewskiego wychodzić zaczął w Poznaniu pod redakcyą ks. Koteckiego „*Przewodnik katolicki*.“ Ks. arcybiskup określa w ad hoc ogłoszonym okólniku cele „Przewodnika“ w sposób następujący:

„Serce Moje od dawna pragnęło w dyecezyach pieczy Mojej Arcypasterskiej powierzonych pisma, któreby w przystępny dla wszystkich sposób utwierdzało prawdy Boże, zapoznawało z objawami życia Kościoła św., oraz ze sposobami jego obrony w tych czasach wielkich niepokojów i niebezpieczeństw dla wiary, równocześnie zaś niosło i rozrywkę i przyjemność po pracy.“

„*Pielgrzym*“, wychodzący w Pelplinie, zamieszcza w Nr. 6 następującą wiadomość:

„Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię“, może sobie teraz powiedzieć protestantyzm niemiecki, który tak gorliwie popierał wszelkie ustawy antipolskie a mianowicie dzieło kolonizacyi niemieckiej. Sprowadzano więc do dzielnic polskich niemieckich osadników i ile możności samych protestantów w nadziei, że ci będą szermierzami protestantyzmu w dzielnicach polskich i katolickich. Nie udali się jednak kolonizacyi owi szermierze protestantyzmu, przeciwnie narobili kościołowi protestanckiemu wiele kłopotu, jak o tem piszą do „Volks-Zeitung“:

„Komisya kolonizacyjna pobudowała, jak to wiadomo, pewną liczbę protestanckich kościołów dla niemieckich kolonistów także za pieniądze polskich i katolickich obywateli płacących podatki. W okolicach Inowrocławia stoi kilka takich nowo pobudowanych kościołów całkiem próżno, żaden z protestanckich kolonistów nie chce do nich uczęszczać, chociaż odpowiedni urzędnicy już to łagodnemi słowy, już też groźbą do tego pobudzają. Wydało się bowiem, że wielka liczba kolonistów należy do sekty baptystów, lub metodystów t. zw. „ewangelicznego społeczeństwa.“ Członkowie tego ewangelicznego społeczeństwa, którzy także „ludźmi Albrechta“ się zowią, odprawiają swoje modlitwy i nabożeństwa inspiracyjne bardzo regularnie; główną siedzibą tych sekciarzy jest Joachimowo. Szczególnie ostro występują przeciw protestanckim pastorom. „Nową naukę“ przynieśli ze sobą z Wyrtembergii. Komisya kolonizacyjna ma z nimi wiele kłopotu, gdyż ta „Ewangeliczna społeczność“ wielką robi propagandę i znajduje między protestantami wielu adeptów. Sprowadzono więc niemieckich protestanckich kolonistów, aby szerzyć germanizacyę — teraz doczekaliśmy się, że koloniści sami ostro się oświadczają przeciw protestanckiemu kościołowi; w jednej miejscowości chcieli nawet nawrócić pastora na swoją wiarę.“ —*ski.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

Młodoczeskie „*Narodni Listy*“ uznały ugodę słowiańskich posłów śląskich za obowiązującą całą prasę czeską i zmieniwszy dotychczasowe, nieprzychylne Polakom śląskim stanowisko, piszą:

„Nasza kwestya polsko-czeska jest polityczną kwestyą domową, którą u siebie trzeba nam załatwić. Kwestya ta powstała, odkąd na Szlązku austryackim większość słowiańska przebudziła się do życia politycznego, występując do walki z niemczyzną. Polacy ocknęli się pierwsi, Czesi dopiero w drugiej połowie ery Taafego. Przebudzenie to zadokumentowali po raz pierwszy wyborem trzech posłów czeskich na Śląsku do sejmu krajowego. Już to samo świadczy, że sukces czesko-polski posiada wspólne cele, że Czesi i Polacy na Śląsku do jednego należą obozu, w którym się bronić muszą przeciw niemczyźnie. Ale jest innych jeszcze wiele

---

wszystko ucichło, przygasło, wypaliły się dusze i z wielkich krwawych płomieni ten jeden blady, błędny ogień pozostał.

Spojrzałyśmy sobie w oczy.

— Czy myślisz, że wielkim płomieniem nie rozpali się nigdy?

Smutnie opuściła głowę.

— Powiadają, że świeci, ale nie grzeje.

— Nie wierz temu — zawołałam — Jeżeli on resztką tych ogni, co gorzały tu niegdyś, to rozpali się znowu i słupem ognistym, ofiarnym wybuchnie ku niebu!

— A jeśli zgaśnie pierwej? Jeśli łuczywa na stos ofiarny nie stanie?

— O serce małej wiary! Ten ognik błędny ma w sobie życie nieśmiertelne. Nie zgaśnie on i łuczywa na stos ofiarny ci nie zabraknie! Przyszłą ci lasy swoich dębów konary, przyszłą ci góry kosodrzewiny gałązki, snopy pól, przyjdą i na stos ofiarny się położą!

Długo, długo w noc mówiłyśmy jeszcze o ogniach co płonęły niegdyś i o tych, które dopiero rozpalić się mają, a gdy sen ogarnął mnie w końcu, to śniłam, że z błędnego ognika płomień rozgorzał olbrzymi i w pomrokę nocną słał promienie światła i ciepła.

CIEŃ.

— Dobrze, że panienka przyszła. W sam czas. Zuzia taka niezręczna — a tu czas nagli — powóz każdej chwili zajedzie — ja jeszcze w negliżu.

Nerwowem drganiem rączki drobnej, białej, dotykała pani Z., mówiąc to, puszkiem policzki swe i nakładała lekkie warstwy woniejącego pudru. Zadowolona z siebie patrzała w lustro, na którego konsoli skład cały parfumeryi spoczywał, odłożyła puszek, szczoteczką jedwabną pogładziła łuk czarnych, gęstych brwi, i powstała nagle, zrzucając z siebie koronkowy negliżyk, który ześliznął się po różowych ramionach jak piana morska po kształtach boskiej Afrodyty.

Panienka tymczasem zdjęła wyszarzały swój kabacik, przetarła skostniałe od mrozu ręce, wyjęła z obrusa lekkie tiule balowe i czekała pokornie na dalsze rozkazy. Upojona na wpół ciepłem woniejącego buduaru, trzymała się ręką poręczy fotelu, by nie upaść. Chciwie rozdęła chrapki kształtnego nosa, wchłaniając w siebie pachnące atomy; zapadłe oczy jej ogniem poczęły się łyskać — a ciepło twarz bladą okryło różową powłoką.

Pierwszy raz w życiu swem była w tak pysznym buduarze. Z zazdrosnem podziwieniem patrzała na ten przepych i wygodę, który dla kobiety wielkiego świata drugim niemal jest światem.

Jakżeż to inaczej w jej skromnej izdebce. Małe lusterko ślepe i natłuczone, pół flaszeczki odświętnego piżma i stare szczypce do palenia włosów — ot! całe jej buduarowe sprzęty. Jakżeż maluczką czuła się ona — biedna szwaczka — wobec tej wielkiej pani. Tak maluczką, że ani zaznała na razie upokorzenia, kiedy, klęknąwszy u nóg pięknej pani, upinać poczęła draperye balowej sukni. Drżącą ręką dotykała się cienkiej przędzy, nie czując nawet, kiedy szpilką własne, pokłute raniła palce.

Powstała. — Pierwszy rzut oka jej padł w lustro, w którym sobowtór pani Z. stał w całej majestatu swego okazałości. — Przestraszyła się w pierwszej chwili samej siebie. Taką nie widziała się nigdy jeszcze w lustrze, zapomniała czem jest — a w sercu jej zagrała „kobieta“ w całym akordzie kokieteryi i zazdrości na inne. W jednej chwili zmierzyła rywalkę

danych, które wskazują wspólność interesu. Czesi i Polacy śląscy są tym duchowym łącznikiem, łączącym oba wielkie narody słowiańskie, pomostem, który pomiędzy obu narodami istnieć powinien.

Niemcy chcieli zniszczyć Czechów i Polaków, czego dowody dali niejednokrotnie. Nie mogąc tego uczynić za jednym zamachem, chwycili się swej starej podstępnej wobec nas Słowian polityki, szczując jednych na drugich, która to taktyka tyle im pożytku zawsze przynosiła. W tem pomagają im najskuteczniej różnice wyznaniowe, a superintendent protestancki dr. Haase dokazał w rzeczywistości tego, że w kilku miejscowościach przyszło pomiędzy Polakami a Czechami do zatargu.

„Drugą przyczyną nieporozumienia pomiędzy nami a Polakami były nadzieje patryotów polskich, że obecna koalicya przyniesie im na Szląsku korzyść na rzecz ich narodowości. Nadzieje te atoli zawiodły, gdy lewica niemiecka kategorycznie oświadczyła, że Szląsk uważa za kraj zdobyty dla Niemców, którego żadną miarą się nie zrzecze. Gdy Polacy się przekonali, że niczego się po Niemcach spodziewać nie mogą, przestali z niemi szukać sojuszu i wrócili do swych dawnych sojuszników Czechów, aby wspólnie wywalczyć prawa im się należące.

„Zresztą byłoby to błędem gdybyśmy utarczkom drobnym na Szląsku taką wagę przypisywali, jak naszej odwiecznej walce z Niemcami. Narzecza śląskie, tak polskie jak czeskie, są sobie nadzwyczaj bliskie i już to samo będzie najlepszą spójnią obu narodów. Na Szląsku lud wyraźnie widzi ów rozdział słowiańsko-niemiecki i czuje potrzebę solidarności słowiańskiej.

„Bynajmniej Polakom za złe nie bierzemy tego, że tam, gdzie w okolicach przemysłowych liczebnie wzrośli, starają się przy swej narodowości utrzymać. Nie wierzymy też, aby na dobry stosunek miała oddziaływać niekorzystnie różnica poglądów socyalno-politycznych, istniejąca pomiędzy Czechami demokratycznemi a arystokratyczną Galicyą. Owszem wspólna nasza sprawa na Szląsku będzie punktem stycznym i zawiązkiem dobrych na przyszłość stosunków.

Nie chcemy twierdzić obłudnie, jakobyśmy nigdy nie mieli stawać do walki z konserwatystami galicyjskimi, ale widzimy i uznajemy pewien w tem pożytek, że arystokracya polska, usposobiona patryotycznie, oddziaływać będzie dodatnio na naszą arystokracyą czeską, indyferentną na funkcye narodowości. Ruch zaś demokratyczny w Czechach będzie pomocą i wzorem demokracyi polskiej, wyrabiającej sobie zwolna znaczenie i stanowisko. Tym to sposobem oba narody oddziaływać na siebie będą dodatnio i rychlej do przekonania przyjdą, iż solidarność nas Czechów z Polakami jako Słowian zachodnich jest koniecznym postulatem dobrej polityki.

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“ polemizując z organem Jezuitów, rzymską „Civittà Cattolica“, która wrogie zajęła stanowisko wobec kwestyi zaprowadzenia liturgii słowiańskiej tak pisze:

„W jednym z ostatnich numerów „Civitá Cattolica“ w rubryce „Cronaca Contemporanea“ potępia pismo to żądania ludności słowiańskiej, aby u nas zaprowadzono liturgię słowiańską. Chcąc sobie wytworzyć słuszny pogląd na kwestyą tę, nie trzeba jej rozpatrywać z *włosko-katolickiego* stanowiska separatycznego, ale ze stanowiska interesów Kościoła. Nie wszyscy, którzy się domagają liturgii słowiańskiej, są pionierami schizmy, jak nie wszyscy, opierający się liturgii słowiańskiej są wiernymi synami Kościoła. *Qui bene distinguit, bene docet?* Słynny liturgista Tallhofer jest obrońcą liturgii słowiańskiej, przyznając jej znaczenie niepoślednie, a kongregacya de Prop. Fide już dawniej w osobnym okólniku do biskupów naszych radziła wprowadzenie tejże liturgii.

Narody południowo-słowiańskie uważają to za swój przywilej, iż w ich języku wolno mszą św. odprawiać, — ukracanie tego prawa przez księży czeskich uważano za rzecz niegodziwą. Agitacya przeciw liturgii słowiańskiej, prowadzona przez biskupów i księży włoskich, najwięcej się przyczyniła do zaostrzenia stosunków pomiędzy Słowianami prawosławnymi a katolikami, na czem Kościołowi naszemu zależeć nie może. Jest też faktem, że na każdem zbliżeniu się prawosławnych z katolikami zbiera zyski Kościół katolicki. Wie o tem dobrze Ojciec św, który tej kwestyi niezmiernie doniosłej nie chce rozstrzygać ze stanowiska wyłącznie włoskiego, ale ze stanowiska Kościoła katolickiego.

* * *

Wychodzący w Lublanie młodosłowiński „Slovenski Narod“ pisze:

„...Dla nas narodowość nie jest pustym wyrazem, ale jest siłą, która daje ludzkości impuls do wszechstronnego zdrowego postępu. Naszym domowym przeciwnikom, którzy nam zarzucają, że broniąc ideałów narodowych, nie wiemy czego bronimy i do czego dążymy, że narodowość i walka o nią jest bezcelową, że tylko interes religijny mieć powinniśmy na oku, odpowiadamy, że właśnie bardzo dobrze wiemy, dokąd zmierzamy i czego chcemy. Nasz cel jest jasnym, jeżeli jest narodowym, wszyscy wiemy dokąd dążymy i czego chcemy: rozwoju umysłowego i ekonomicznego naszego narodu i całej słowiańszczyzny.

„Ta okoliczność, że naszym wrogiem jest Niemiec katolik, jednej z nami wiary, nie powinna nas zaślepiać, owszem, tem czujniej stać winniśmy na straży. Jeżeli duchowieństwo nasze uważa siebie za powołanych do godzenia sporów narodowości, jeżeli nie chce stawać na czele naszego ruchu narodowego, aby tym samem nie stać się wrogiem swych parafian niemieckich, ich duszpasterstwu pozostawionych, to niechże nam pozostawi obowiązek bronienia interesów narodowych i w naszej agitacyi nie upatruje zdrożności i tendencyi siania wśród ludności katolickiej niezgody...“

K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z życia ekonomicznego.

(*Notatki*).

II.

Co do kwestyi unormowania dnia roboczego mamy do zaznaczenia fakty następujące: W radzie narodowej szwajcarskiej wniesiono projekt skrócenia dnia roboczego z godzin 11 na 10. Głosów zasadniczo przeciwnych nie było, jednakże wniosek odrzucono motywując tem, że przy nadmiernie długim dniu roboczym w krajach ościennych i wobec fatalnego położenia jednej z głównych gałęzi przemysłu krajowego — wyrobu tkanin jedwabnych, Szwajcarya nie byłaby w stanie wytrzymać konkurencyi. Wobec tego postanowiono polecić radzie związkowej podjąć na nowo inicyatywę międzynarodowego uregulowania tej kwestyi. (Jak wiadomo usiłowania rządu szwajcarskiego w tym celu spełzły

---

w lustrze i równać ją poczęła z sobą. — Mniejsza wzrostem i szczuplejsza, zdawała się dorównywać majestatowi Junony, choć ramiona jej nie zdradzały kształtów takich, jak u pani Z., — za to oczy jej dziwnym błyszczały ogniem, niezakrapiane nigdy atropiną — tym częściej za to... łzami. Usta nabiegły róż karminem pierś, poruszana stu rządz skrytych burzą, coraz pełniejszy owal przybierała — a włosów hebany zdawały się poruszać i jeżyć jak węże na głowie pięknej Gorgony. Tylko ręce jej z pokłutemi palcami czerwonością swą chudą dziwnie odbijały, jak krwi kropla na śniegu, na białem ciele pani Z., i, kiedy kładła jej na szyję piękny, brylantowy naszyjnik, czuła w tej chwili nieprzepartą w sobie chęć i siłę, zaciągnąć go splotem stryczka, udławić tę kobietę, zedrzeć z niej tiule balowe, sama się w nie przybrać i przeglądać się — w lustrze.

Ocknęła się dopiero, kiedy pani Z., zawiesiwszy na ramiona futerko, wysunęła z pod niego rękę i wcisnęła jej coś „na szpilki“.

* * *

Jakim sposobem dostała się na ulicę, czy śniło jej się tylko na jawie wszystko to, co widziała, z tego biedaczka w pierwszej chwili zdać sobie nie mogła sprawy.

Wiatr mroźny ciął w bladą twarz jej. Nie czuła. — Biegła jak upiór bez myśli i woli przed siebie, pozostawiając w śniegu ciche ślady, małych, wykrzywionych trzewików. — Oddech gorący zastygał jej na woalce cienkiemi lodu kryształami — serce młotem biło — a w pierś dyszącą wpijały się stalki starego gorsetu, trzeszcząc jak druty klatki pod pazurami lwicy.

Biegła, nie bacząc na nawoływania woźniców środkiem gwarnej ulicy i kto wie dokąd byłaby zabiegła, gdyby jej nagle nie powstrzymał rój ciekawej gawiedzi i sznur powozów.

Przystanęła.

Dwie banie elektryczne rzucały rzęsiste światło na ulicę i schody wielkiego gmachu, przed który tłumnie zajeżdżały powozy. Spięła się na palce i machinalnie utorowała sobie drogę przez tłumy, aż stanęła w pierwszym rzędzie ciekawych.

Oślepiona jasnością elektryczną, nie widziała nic przed sobą — czuła tylko w powietrzu tę samą odurzającą woń buduarową, którą przed chwilą oddychała, nie słyszała słów ciekawych sąsiadek, objaśniających się wzajemnie, że to bal na cele „dobroczynne“; ocknęła się dopiero, kiedy powóz zajechał, a z niego pan jakiś wysiadł, podając z uśmiechem galanteryi rękę swą — poznała! — pani Z. — I znów jej serce coś ścisło i znów poczuła tę siłę nieświadomą, jaka kusiła ją, nakładającą naszyjnik pani Z. Stała jak przykuta.

Stała — a zą nią rysował się cień jakiś mglisty, rosnący w kształty olbrzyma męzkiego. Przez mgłę szarawą dwoje ócz lubieżnych jak głownie tlejące spoczęło na jej ciele, a usta bezkrwiste, zaciśnięte wykrzywiały się śmiechem pożądliwym. I rąk dwoje wysunęło się z szarej mgławicy — z tych jedna workiem potrząsała złota, a druga oplatała kibić jej dziewiczą.

Tłum się rozproszył — ona szła ostatnia — a za nią krok w krok szło straszne widziadło.

* * *

W rok potem cień mglisty przybrał ludzkie ciało — sny się spełniły — miała buduar i jeździła karetą.

Alastor.

na niczem, wobec oporu Niemiec, gdzie zwołano kongres międzynarodowy, który zajął się jedynie kwestyą pracy kobiet i dzieci i nie wydał żadnych poważnych rezultatów).

Ciekawy przyczynek do kwestyi normalnego dnia roboczego podaje prof. Philippowitz w piśmie wiedeńskiem „Handelsmuzeum" z d. 8 listopada. Jest to mianowicie sprawozdanie dyrektora jednej ze znaczniejszych hut żelaznych w Czechach, własności hr. Erweina v. Nosticz w Rathau. Do roku 1892 pracowano tam dzień i noc dwiema zmianami po godzin 12. Wskutek zaprowadzenia nowych maszyn praca stała się tak intensywną, że robotnicy nie mogli wytrwać przy niej tak długo, pracowano źle, psuto dużo. Od owego czasu zaprowadzono trzy „szychty" po 8 godzin. Trzeba było wprawdzie zaprowadzić niektóre ulepszenia i poczynić zmiany w organizacyi pracy, lecz rezultaty były świetne. Produkowano więcej prawie o 50 proc. i produkt jest lepszy. Płaca od sztuki pozostała ta sama, bo robotnicy zarabiają tyleż co dawniej, w niektórych nawet grupach cokolwiek więcej, gdy tymczasem koszta płacy roboczej dla fabryki na tę samą ilość wyrobów zmniejszyły się. Zdrowotność robotników polepszyła się głównie z tego powodu, że mają teraz 16 godzin z rzędu do swego rozporządzenia i na każdą grupę praca nocna przypada co trzy tygodnie, gdy dawniej co dwa.

Nie jest to pierwszy przykład zbawiennych skutków skrócenia pracy dla obu stron, i nie należy tych przykładów generalizować, gdyż w innych gałęziach pracy, lub w innych warunkach fabrykanci mogą ponieść niewątpliwie pewne straty.

Za przykładem angielskiego ministeryum wojny i marynarki, które zaprowadziły w warsztatach swoich 8 godzinny dzień roboczy, poszło teraz ministeryum norwegskie, skracając pracę do 53 godzin na tydzień w warsztatach rządowych. Dawniej praca trwała 54 i pół do 60 godzin. Z ulgi tej korzysta 1075 ludzi.

Z ostrych zatargów pomiędzy kapitałem i pracą zaznaczamy sztrejk górników szkockich, którzy opierali się obniżeniu płacy o 1 szyling. Sztrejk ten kosztował robotników angielskich 80,000 i skończył się ich porażką. Przed miesiącem podjęto pracę na nowo, lecz już grozi nowe bezrobocie: robotnicy oświadczyli, że nie są w stanie wyżyć ze swojej płacy i żądają podwyżki o 6 pensów.

Na ostatnim kongresie ekonomistów w Wiedniu jednym z najpoważniejszych działem rozpraw była kwestya syndykatów, kartelów, trustów i t. p. związków przedsiębiorców. Prawie wszyscy uczestnicy, z wyjątkiem profesorów Brentano z Monachium i Wolff z Zurichu (ostatni, jak powiada „Frankfurter Zeitung" w sprawozdaniu „pochwala wszystko co robi bóg-kapitał") zaznaczali niebezpieczeństwo, które grozi ze strony tych związków konsumentom przez z monopolizowanie produkcyi. Jednakże siłą konieczności związki takie w tej czy innej formie pozostawać muszą i nie sądzimy, żeby prawodawstwo mogło temu zapobiedz. Rzecz jest jasna: konkurencya, zachwalana przez szkołę manczesterską jako dźwignia całego życia ekonomicznego, zrujnowała naprzód częściowo drobnych przedsiębiorców i staje się teraz groźną nawet dla większych. Samozachowanie zmusza ich do okiełznania anarchii na rynku, przy której wzajem się rujnują, muszą więc uciekać się do porozumiewania pomiędzy sobą. Pierwsze próby tego rodzaju powstały w Ameryce przed 15 zaledwie laty, dziś posiadamy już kilka olbrzymich stowarzyszeń, które opanowały całe gałęzie przemysłu, że wspomnę tu tylko o sławnej „normizowce" fabrykantów cukru w Rosyi, która polega na tem, że fabrykanci zobowięzują się produkować tylko pewną ściśle ograniczoną ilość cukru, o związku producentów chemikalii w Niemczech, towarzystw kopalniowych w Ameryce, Niemczech, Francyi. Istnieje nawet syndykat, który z małem wyjątkiem opanował całą produkcyę nafty w Ameryce i na Kaukazie, a który powstał wskutek porozumienia dwóch olbrzymich firm „Bracia Nobel" i „Amerykańskie stowarzyszenie naftowe". Rozwój w tym kierunku musi posuwać się dalej.

Z doby bieżącej zaznaczamy fakt: Na posiedzeniu listopadowem „Reńsko-westfalskiego syndykatu węglowego" w Essen postanowiono połączyć się z „Towarzystwem akcyjnem syndykatu produkcyi koksu". Połączenie polega na tem, że producenci węgla zobowięzują się nie sprzedawać węgla zupełnie producentom koksu, stojącym po za syndykatem, ten zaś z góry zakupuje określone ilości węgla w ten sposób, że ilość, jaką ma dostarczyć każda z kopalń, zostaje ściśle określoną. Ilość wyprodukowanego koksu wynosiła w roku 1885 — 2.800,000 ton, w 1891 — 3,900,000, w 1894 obliczają 4,750,000. Wartość 50 milionów marek. Produkcya węgla syndykatu kopalnianego wynosiła w trzecim kwartale bieżącego roku 8,991,457 ton. Mamy więc do czynienia z fuzyą dwu wielkich syndykatów, połączonych w jeden olbrzymi. Każdy producent, który ośmieliłby się w danym rewirze stawić opór takim potęgom ekonomicznym zostanie zmiażdżony, konkurencya więc dla pewnych granic — o ile mianowicie nie wchodzi w rachubę możność dowiezienia produktu zkąd indziej, w danym razie jest prawie wykluczona, gdyż ani koks ani węgiel nie pokrywają kosztów dalekiego przewozu — jest usuniętą.

Sprawa upaństwowienia kolei zajmowała w ostatnich dniach dwa parlamenty. W Austryi postanowiono 7 b. m. zakupić dwie linie, czesko-zachodnią i morawsko-szląską. O ile przy pierwszych operacyach tego rodzaju stawiano silny opór ze strony liberalnych żywiołów, o tyle tym razem przyjęto wniosek prawie bez debaty. Czas więc, kiedy wszystkie drogi austryackie będą w rękach rządu jest już bardzo blisko.

W szwajcarskim parlamencie powodem do podniesienia kwestyi upaństwowienia był skandal, który miał miejsce na drodze północno-wschodniej, jednej z głównych arteryi, gdyż łączy drogę gothardską z jeziorem Bodeńskim i w ten sposób łączy Włochy z Niemcami. Powodem skandalu był zatarg pomiędzy akcyonaryuszami, z których jedni żądali dróg podjazdowych, drudzy opierali się temu, gdyż chodziło im o utrzymanie dywidendy na dawnej stopie, podczas gdy pierwsi mieli zapewne interes bezpośredni w budowie. Drogi, o które chodziło, były dla kraju bardzo ważnemi, pomimo to za pomocą tak zwanych „słomianych ludzi" pierwsza partya przegłosowała drugą, wykluczyła ludzi nieprzychylnych sobie ze zarządu i kraj dróg nie otrzyma. W parlamencie tedy zażądano środków prawnych dla ukrócenia samowoli akcyonaryuszów, które też uchwalono. Główne paragrafy wydanego w tym celu prawa dążą do uniemożliwienia owych podsuwanych figurantów, usunięcia ze zarządu cudzoziemców, którzy przeważnie reprezentują spekulantów giełdowych, i do zapewnienia rządom, związkowemu i kontrolnemu, pewnego wpływu na postanowienia rady zarządzającej. Jednocześnie jednakże polecono radzie związkowej wypracowanie projektu upaństwowienia dróg, które dotąd są wyłącznie w posiadaniu towarzystw akcyjnych. Obecnie w prasie szwajcarskiej toczą się żywe debaty jak uskutecznić projekt, czy drogą wykupu, amortyzacyi, czy ekspropryacyi. Pierwszy sposób trwałby zbyt długo, gdyż koncesye są wydane na długi szereg lat, ostatni zbyt kosztowny, gdyby chciano płacić wartość akcyi podług kursu bieżącego, pozostaje więc trzeci, który też prawdopodobnie będzie użyty.

Parlament francuzki, pomimo, że zdawało się, iż dawny systemat protekcyjny zaczyna tracić zwolenników, uchwalił jednakże nowe cła prawie prohibicyjne na rodzynki, podwyższając dawną stopę 15 do 25 franków na 25 do 40. Polityka ta nie wydaje jak dotąd pożądanych rezultatów o czem wymownie świadczy bilans handlowy: Import w pierwszych dziewięciu miesiącach roku 1893 wynosił 2,804,550,000
„ 1894 „ 3,137,600,000
+ 334,050,000

Export 1893 wynosił 2,435,396,000
„ 1894 „ 2,319,384,000
— 116,012,000

Cyfry te dają wiele do myślenia, ale wobec szalonych zapędów grup oddzielnych, które za jaką bądź cenę bronią interesów swojej kieszeni, zwrot ku bardziej racyonalnej polityce celnej jest marzeniem na teraz.

Ciekawą tablicę stosunku samodzielnych przedsiębiorców do najmitów we Francyi podaje jedno z pism ekonomicznych. W roku 1893 było

	właścicieli	najmitów
Rolnictwo	54,5 proc.	46,5 proc.
Przemysł	22,5 „	77,6 „
Przewóz	14,0 „	86,0 „
Handel	50,6 „	49,4 „

Cyfry te, jeżeli są dokładne, świadczą dobitnie o tem, że Francya pozostaje Eldorado dla dobrego przedsiębiorstwa. W rolnictwie przewyższa własność już nie drobna ale miniaturowa, jeżeli większość gospodarstw obchodzi się bez najmity.

J. B. M.



Poeta Nirwany.

Poetą „dusz zmęczonych" w Rosyi jest hrabia Kutuzow. Rosyanie nazywają go poetą śmierci i Nirwany. Rzecz znamienna na schyłku XIX stulecia, że poeta Nirwany jest ulubieńcem publiczności: dwa tomiki jego poezyi wyszły obecnie w trzeciem wydaniu.

Hr. Kutuzow nie należy bynajmniej do „najmłodszych." Produkcya jego poetycka przypada na lata siedmdziesiąte i pierwszych parę ośmdziesiątych. Z współczesnym dekadentyzmem, — który jako najnowsza moda francuzka wtargnął także do literatury rosyjskiej, — poezya jego nic nie ma wspólnego.

Kutuzowa ojcem po duchu jest Puszkin, którego „Eugeniusz Onegin" bezwątpienia wpłynął na kierunek twórczości poety Nirwany. Wpływ ten Puszkinowski najwyraźniejszym jest w pierwszym większych rozmiarów poemacie epiczno-lirycznym p. t. „Staryja rieczi." Zarówno charakter głównego bohatera, jako też rozwiązanie zawartego w poemacie tym problematu etycznego z lekka przypominają „Onegina." Podobieństwo to nie polega oczywiście na ślepem naśladownictwie, lecz świadczy o powinowactwie dusz obu poetów. Łączy ich nadto owa niezrównanie harmonijna muzyka słów, rytmów i rymów, która wsławiła Puszkina, a najsłabszym nawet utworom Kutuzowa nadaje znaczenie i wartość dzieł sztuki. Każdą duszę na piękno wrażliwą doskonałość formy rosyjskiego poety wszechpotężnym swym czarem przykuwa do siebie. Pod jej wpływem zapominamy o częstych niedomaganiach treści.

Różnica pomiędzy charakterem twórczości obu poetów jest równie wyraźna, jak ich powinowactwo, a równie wielka, jak różnica pomiędzy epokami, których są przedstawicielami. Leży ona w odmiennym ich *nastroju duchowym*: u Puszkina ton śmiały, nastrój duszy pogodny, wiara w szczęście, siła, usposobienie wojownicze, — u hr. Kutuzowa ton stłumiony, nieśmiały, przygnębienie, świadczące o zawodach życiowych, beznadziejność i pragnienie wiecznego spokoju... bezradosnego i bezbolesnego... Puszkin — to poeta życia i zmartwychwstania;

hr. Kutuzow — poeta śmierci i Nirwany, skąd nie ma powrotu do życia.

Gruby pesymizm, spotęgowany do apoteozy śmierci, — ten sam pesymizm, którego apostołem we filozofii po Schopenhauerze jest Hartmann, — oto myśl filozoficzna, którą hr. Kutuzow przyodziewa w barwną szatę swej poezyi. W życiu nie ma szczęścia. Jest ono złudzeniem tylko, po którem zawsze bolesne następuje rozczarowanie. Ale w człowieku głęboko tkwi pragnienie szczęścia, — i w tem leży tragedya jego życia. Jedynym życia sensem, jest... śmierć: ona też jest jedynym pragnienia godnym celem. Myśl ta w twórczości poety rozwija się zwolna. Zrazu niewyraźna, objawia się w upodobaniu do odtwarzania ponurych, ciemnych stron życia, przechodzi po tem w zwątpienie o *możliwości* szczęścia, w dalszym rozwoju ukazuje się jako *negacya potrzeby* szczęścia, aż wreszcie w *apoteozie śmierci* znajduje ostateczną swą formę. Powolny ten rozwój pesymizmu poety rosyjskiego wyraźnie ujawnia się w jego utworach. Hr. Kutuzow jest przedewszystkiem poetą, nie filozofem. U niego pesymizm nie jest rozumowaniem, doktryną, lecz uczuciem, nie tendencyą, lecz mimowolną spowiedzią zbolałej duszy.

Poeci, jak wiadomo, nie grzeszą konsekwencyą: oddają się każdemu potężnemu wrażeniu bez namysłu i odtwarzają je w swych utworach. Hr. Kutuzow należy także do poetów „niekonsekwentnych.“ Od czasu do czasu, — jakkolwiek nie często, — otrząsa się ze swego ponurego pesymizmu, i wtenczas ku niemałemu naszemu zdziwieniu starzec, życiem zmęczony, zamienia się w młodzieńca, który rwie się do życia, który wierzy w szczęście i miłość i zachwycać się umie pięknością przyrody. W tych rzadkich chwilach „otrzeźwienia“ i powrotu do życia powstało dużo mniejszych, bardzo pięknych i oryginalnych utworów lirycznych, które w współczesnej literaturze rosyjskiej śmiało postawić można obok utworów Tiutczewa i Feta, uchodzących w krainie „czystej liryki“ za mistrzów niezrównanych.

Miłość i przyroda, dwa odwiecznie stare, a wiecznie nowe tematy liryczne, są także źródłem natchnienia rosyjskiego poety. Nie odważając się na przekład, przytaczamy w oryginale choć jeden tylko ustęp z wierszyka lirycznego.

„Proszumiéli wiesomyja 1) wody,
Zagremiéli wiesiołyja grozy, 2)
W odiejaniach woşkresszej 3) prirody
Rozcwieli 4) giacynty i rozy.
Proniesliś 5) ot dalókich pomorij 6)
Perelotnyja piewczyja pticy: 7)
W niebiesach swietłookija zori 8)
Wo wsiu nocz ne smykajut zienicy. 9)
No i w blednoj tiszi ich sijanij 10)
Wniatien żizni tainstwennyj lepiet 11)
Wniatny zwuki niezrimych łobzanij 12)
I lubwi torżestwujuszczij trepiet.“ 13)

Takich miłych drobiazgów, — pochodzących przeważnie z młodych lat poety, — w dwutomowym zbiorku poezyi znajduje się więcej („Nie smołkaj, gowori“, „Sniłoś mnie utro (poranek) łazurnoje, czistoje“ i inne). Ich świeżość przyjemnie odbija od ponurego tła innych utworów poety. Z drobniejszych utworów Kutuzowa zasługują jeszcze na wyszczególnienie: „Skuka“, poemat opisujący na wpół seryo, na wpół żartobliwie krainę wszechwładnej urody, którą autor upatruje we wszystkich stosunkach życia rosyjskiego, „Stariki“, rzecz osnuta na tle wojny tureckiej, i „Gaszisz“, opowieść, której bohater, dziki syn stepów turkestańskich, chcąc uwolnić się od wszelkich trosk „obrzydliwego życia“ upaja się haszyszem i w halucynacyach, spowodowanych otruciem znajduje upragnione szczęście.

1) wiosenne, 2) zagrzmiały burze wesołe, 3) w szatach zbudzonej przyrody, 4) rozkwitły, 5) przeleciały, 6) krain, 7) ptaki wędrowne, 8) zorze, 9) nie zamykają źrenicy, 10) lecz i w bladej ciszy ich błysków. 11) Czuć życia szum tajemniczy. 12) Słychać dźwięki niewidzialnych pocałunków 13) i miłości tryumfujące drzenie.

„Proszczaj... no jesliby udary
Sudźby żestókoj na tiebia
Obrusziliś, i żizu twoja
Nieżdannym goriem omracziłaś,
Pripomni, czto so mnoj słucziłoś...
Ałła mogucz — gaszisza dym
Dla sczastja niszczich sozdan im.“

Wyraźnie słychać tu już rozpaczliwą nutę podzwaniającą także w poezyi innego poety śmierci: Karola Baudelaire'a. „Enivrez-vous!...“ woła życia syty poeta francuzki, „Upajajcie się! upajajcie się winem, upajajcie się cnotą, upajajcie się grzechem, byle tylko o życiu nie myśleć...“ Tę samą myśl wypowiada poeta rosyjski. I on na troski życia innego nie znajduje lekarstwa, prócz upojenia...

Pierwszy, większych rozmiarów utwór Kutuzowa nosi tytuł „Staryja rieczi“ („stare dzieje“). W nim wyraźnie już przebija ponury nastrój poety.

Osamotniony, zrozpaczony po gorzkich doświadczeniach życiowych, — starzec przedwczesny na duchu i ciele, — bohater poematu po długich podróżach powraca w ojczyste swe strony, do dworu, w którym od dziada, pradziada mieszkali jego przodkowie. Wszystko mu tu obce. Nikt nie wychodzi na jego spotkanie, nikt go nie poznaje. Tylko stare, mizerne psisko wita go radosnem szczekaniem. Na każdym kroku spotyka się z pamiątkami, przypominającemi mu dawne czasy. Ale czuje się wśród tych pamiątek jakoby na cmentarzysku wśród mogił i krzyżów, których zatarte napisy na myśl mu przywodzą miłych sercu nieboszczyków. Z pomiędzy wszystkich wszakże wspomnień jedno jeszcze go dziś dręczy: wspomnienie nieszczęśliwej miłości. Z pamiętnika, który bohater odnajduje we dworze, dowiadujemy się historyi tej miłości. Historya, to prosta.

Bohater przed wielu laty kochał się w żonie sąsiada. Ona wyszła za mąż z namowy i woli rodziców, którego prawie wcale nie znała. Po niewczasie przekonuje się, że małżonek jej jest istotą ograniczoną bez wszelkich potrzeb duchowych, człowiekiem brutalnym o popędach zwierzęcych. Odznaczają go mianowicie dwie namiętności: pociąg do kieliszka i do kart. Rzecz jasna, że go kochać nie może. Trochę z nudów, — jak się sama później przyznaje, — a trochę wskutek prawdziwej sympatyi zawięzuje lekki stosunek miłosny z sąsiadem, który często odwiedza jej męża. Ostatecznie dochodzi do tego, że bohaterowi poematu naznacza tajemną schadzkę w ogrodzie „pod lipą nad ruczajem“, gdzie czekać na niego obiecuje. Nieszczęśliwy wypadek nie pozwala jej jednakże stawić się na czas. Miły bowiem małżonek tego samego właśnie wieczora w wesołej kompanii hulackiej upił się jak nie-człowiek, przegrał w karty cały swój majątek i dostał ataku paraliżu. Musiała więc pozostać przy nim. Tymczasem kochanek „pod lipą nad ruczajem“ czeka wytrwale i długo, bo aż do północy. Po północy wreszcie ukazuje się „ona“, świeżymi wypadkami, jak łatwo się domyślić, rozstrojona w najwyższym stopniu. „On“ tymczasem, czy to znużony długiem czekaniem, czy też uszczęśliwiony nad miarę, czy też tak bardzo zakłopotany, nie znajduje ani jednego słowa na jej powitanie. — Dodać musimy w tem miejscu, że bohater poematu przez cały czas swych zalotów miłosnych do żony sąsiada wielką okazuje nieudolność: milczy, kiedy mówić trzeba, a mówi, kiedy najlepiej byłoby milczeć. — Urażona zapewne jego milczeniem, bohaterka popada w ironię nad samą sobą i w pełnych goryczy i żalu słowach robi sobie wymówki, że pozwoliła się uwieść. Tymczasem on wciąż milczy, jak zaklęty i zupełnie nie przeszkadza jej w monologu „Ona“ ostatecznie popada w gwałtowność, graniczącą z histeryą, i kończy słowami, że „wszystko skończone“ między nimi. Bohater, który dla zachowania pewnej godności powinien teraz odejść w milczeniu, naraz mówić zaczyna i rozprawiać na temat: „Czyż nie ma już nadziei?“ itd. Oczywiście, że nie ma nadziei; poznaje to po chłodnem jej, prawie szyderczem spojrzeniu, które raz jeszcze powtarza mu: „wszystko skończone.“

1) Bywaj zdrów!... lecz gdyby ciosy losu okrutnego na ciebie spadały, i gdyby życie twe nagle w nieszczęście się zamieniło; przypomnij sobie, co ze mną się stało... Ałłah potężny — haszyszu dym dla szczęścia biednych przez niego stworzony.

„Staryje rieczi“ chybione są pod wielu względami. Tatjana w Puszkina „Onieginie“ w podobnem znajduje się położeniu, co bohaterka „starych dziejów.“ Ale los Tatjany i Oniegina jest tragicznym i na czytelniku wywiera wrażenie głębokiej tragiki. Bo Tatjana całą duszą kocha Oniegina, — a jednak miłość swą składa na ołtarzu obowiązku względem męża, który nie zasługuje, ani na miłość, ani na jej litość. W duszy bohaterki „starych dziejów“ żaden tragiczny konflikt uczuć rozegrać się nie mógł: z jednej strony nie kocha właściwie nieszczęsnego kochanka, z drugiej zaś strony okoliczności tak jej ułatwiły decyzyę szlachetną, że właściwie inaczej postąpić wcale nie mogła. Bo tylko potwór, nie kobieta, zdołałby się oddać kochankowi, w chwili kiedy mąż tknięty paraliżem walczy ze śmiercią. Nadto w czytelniku na niekorzyść bohaterki budzi się podejrzenie, że dopiero na miejscu schadzki wobec wyjątkowej nieudolności kochanka zbudziło się w niej postanowienie, pozostania wierną obowiązkom żony. Dla czegoż bowiem wyszła do sadu?...

Charakter bohaterki zupełnie nie nadaje się do wywołania wrażenia tragicznego. Bohater poematu bezwątpienia jest nieszczęśliwym, bo nieszczęśliwym się czuje po doznanym zawodzie, lecz i tutaj autor, wrażenie litości znacznie osłabił przez niedostateczną charakterystykę bohatera. Właściwie bowiem dowiadujemy się o jego charakterze tyle tylko, że był „człowiekiem dobrodusznym“, — nic więcej. Zachowanie się zaś jego podczas całej afery miłosnej sprawia raczej wrażenie komizmu. Mazgajstwo bowiem w sprawach miłosnych nawet u najlitościwszych osób śmiech wywołuje.

Nastrój poematu, jak już wspomnieliśmy jest ponury: — beznadziejność od początku do końca. Bohater już z samego początku nie wierzy w możliwość szczęścia, a odepchnięty przez ukochaną istotę popada w rozpacz.

„K czemu miecztanija, nadieżdy łżiwyj bred?
„Błażen, czije sczastje sudzboju pozabyto.“

„Po cóż więc marzenia, nadziei kłamliwe złudzenie? Szczęśliwy ten, o czyjem szczęściu zapomniały losy“, — smutny wynik rozmyślań bohatera i autora.

Bez porównania lepszym, — może ze wszystkich najlepszym, w każdym razie najciekawszym i najbardziej oryginalnym, — jest drugi większych rozmiarów utwór Kutuzowa p. t. „Died prost'ił“ („Dziad przebaczył“). Pod względem nastroju przedstawia on dalsze pogłębienie pesymistycznego poglądu na życie. Treść jego, owiana grozą tajemniczości, jest następująca:

Stary książę, porzucony przez niewierną swą żonę, uciekł od świata i ludzi i zagrzebał się na wsi. Żona pozostawiła mu córkę, która jest jego jedyną pociechą, — jego szczęściem i życiem i jedyną miłością. I zjawił się u drzwi jego „obcy człowiek, wesoły, śmiały i młody“, którego córka pokochała, i z którym połączyć się pragnie. Ojciec pod żadnym warunkiem na to zgodzić się nie chce. Narzeczony w nocy wykrada córkę, o czem dowiedziawszy się ojciec puszcza się za nim w pogoń pomimo straszliwej zawiei śnieżnej. W drodze koń pada, lecz starzec z gniewu i rozpaczy tracący panowanie nad samym sobą, zrzuca z siebie futro i dalej pieszo pędzi za narzeczonymi. Na drugi dzień przechodnie znajdują go w śniegu skostniałego, umierającego. Tymczasem narzeczeni wzięli ślub. Córka pisze list do księcia, prosi o przebaczenie i razem z mężem chce zamieszkać u ojca; — wszystko niestety za późno! Gdy powraca do domu, ojca zastaje martwego.

Między żoną i mężem odtąd zawsze stoi duch nieboszczyka, groźny, nieubłagany. Z niemą nienawiścią nad trupem ojca młoda żona spogląda na swego męża, — i nienawiść ta nigdy zupełnie nie znika z jej serca. Uciekają do stolicy i w wirze wielkiego świata chcą zapomnieć o „nim“, o nieboszczyku, co z grobu

wstaje i wiecznie patrzy im w oczy. Nigdzie nie znajdują spokoju, ani w zabawach stolicy, ani w podróżach...

„I u niesczastnoj niet uż siły
Borotsia 1) s wychodźcem mogiły:
On owładieł jejó 2) duszoj
Jejo umom, 3) jejo miecztoj 4)

. . . .

I tolko w kratkij mig zabwienia 5)
Żena na muża wzglaniet 6) wnow, —
Jej prizrak 7) szepczet: — niet proszczenja!“ 8)

Młoda żona powiła syna. Zwolna rodzi i rozwija się w niej myśl mistyczna, że syn powinien odkupić jej winę i pogodzić ją z ojcem. Małżeństwo, — smutne i nieszczęśliwe, — powraca do wioski, w której mieszkał i umarł stary książę. Mija lat parę. Wszystko, co się dzieje dokoła, nieszczęśliwa kobieta przypisuje wpływowi duszy ojca. Każde nieszczęście jest dla niej nowym dowodem, że ojciec nie przebaczył. Z utęsknieniem wygląda jakiego pomyślnego znaku...

...Posucha panuje straszliwa. W cerkwi lud pobożny do Pana wszechmocnego gorące zanosi modły o deszcz ożywczy. Księżnej wydaje się naraz, że jeśli Bóg wysłucha modlitwę ludu. — to będzie to znakiem, że i nad nią duch ojca się zmiłował. Wysyła synka, by się modlił, sama zaś wychodzi do ogrodu. Zaledwie zaczęła się modlić, gdy na skraju nieba ukazuje się czarna chmura, gromami brzemienna.

„Idiot — i niebo tiesno 1) jej —!
Ona żiwiot, rastiot 2) i dyszet,
I krylja 3) moszcznyja 4) kołyszet
I chmurit czornyj wał browiej. 5)
To wzglaniet wdrug 6) i zamorgajet, 7)
Zagoworit.., to wnow smołkajet 8)
W razdumje strastnom 9) — i grozna
Jego żiwaja tiszina...“

Już... już zdaje jej się, że ojciec wysłuchał jej prośby, gdy w tem grom uderzył. Ona widzi tylko smugę świetlaną, — a potem... „uśmiech... spojrzenie... i westchnienie niebiańskiego szczęścia, i... śmierć.“

Tak kończy się poemat. Ojciec nie wybaczył córce, nie przyjął ofiary wnuka. W życiu nie ma pojednania; ono tylko w śmierci możliwe. Pożądanie szczęścia w życiu jest grzechem, bo ono zawsze okupuje się nieszczęściem innych ludzi. A tak samo, jak każdy człowiek z osobna, tak i ludzkość cała oswobodzić się powinna z pęt „ostatniego złudzenia“, jakoby tu na ziemi dojść mogła do stanu szczęśliwości. Tylko w śmierci, w nie-bycie, w Nirwanie jest szczęście, a więc i cel życia.

Myśl tę, pobieżnie zrazu i mimochodem wypowiedzianą w „Starych rieczach“, pogłębioną następnie „Died prostił“, jako „dobrą nowinę“, jak ewangelię głosi hrabia Kutuzow wszystkim duszom wzniosłym ponad pragnienia ziemskie w ostatnim swym utworze p. t. „Razswiet“ („Jutrzenka“. Tutaj śmierć nie jest już tylko rozwiązaniem i pojednaniem sprzeczności życiowych, — lecz jedynem prawdziwem szczęściem, jedynym stanem szczęśliwości. Człowiek byłby wtenczas tylko prawdziwie szczęśliwym, gdyby przez całe życie pozostawał w tym stanie, który odczuwa w chwili konania.

„Razswiet“ jest apoteozą śmierci i ostatniem poety słowem, — jego wyznaniem wiary. Osnowa, czyli „bajka“ poematu jest tutaj tylko ramką, czemś niezmiernie pobocznem i nieważnem. Podajemy ją więc w kilku tylko słowach.

Bohater narzeczonemu odbija narzeczoną. Narzeczony wyzywa go na pojedynek i rani śmiertelnie.

Umierający na łożu śmierci poznaje ostateczny, jedyny i prawdziwy sens bytu, który objawia mu się jako Śmierć. Wita ją „bez strachu i bez smutku.“ Całe przeszłe życie przedstawia mu się teraz jak szereg snów nocnych, które przeminęły bez śladu. Życie urojeniem było, śmierć jest rzeczywistością, i szczęściem rzeczywistem. Wyciąga ku niemu ramiona, a on w jej „uścisku beznamiętnym“ coraz to spokojniejszym się czuje: lżej mu teraz i cały smutek życia przemija bezpowrotnie... W pobliżu słychać szelest zbliżających się kroków... Do łoża zbliża się postać kobieca, — ukochana istota, dla której rywala wyzwał na pojedynek. Czuje dotknięcie ręki, — ręki znajomej, drżącej... słyszy słowa pociechy i miłości. Lecz jemu wszystko teraz obojętne. „Spojrzyj-że na mnie, przemów choć słowo“, prosi go kochanka. Ale on tylko Śmierć widzi przed sobą, — ona jedynie pociąga go ku sobie:

„Pridi, izbrannik moj, tiebia ja polubiła,
„Tiebia mnie stało ial sred mira i ludiej...“

Narzeczona, przerażona jego obojętnością, płakać zaczyna. On widzi jej łzy i jej mękę, ale ich nie odczuwa. Obojętnie rękę ku niej wyciąga i pyta: „czego-że tak płaczesz?“ Światło pada na jej twarz. I twarz ta, dawniej tak miła, wydała mu się obca i przejęła go grozą, — bo w niej tyle było... życia! Odwrócił się od niej. Ona raz jeszcze spojrzała mu w oczy, gorącemi ustami, ust jego dotknęła, a potem zapytała: „Mam odejść, czy zostać?“ „Idź“, odpowiada bez namysłu. A kiedy ze łzami w oczach żegna go i mówi „do widzenia“, on ze spokojem odpowiada „bywaj zdrowa!“ i żegna ją na zawsze, bo nie wierzy w możliwość zobaczenia się po śmierci...

Stan duszy, zbliżony o ile możności do stanu, w którym się konający bohater „Jutrzenki“, jest ideałem hr. Kutuzowa jest sam „duszą zmęczoną“ i poetą „dusz zmęczonych.“ To, co wypowiedział w „Razswietie“ jest wyznaniem wiary milionów schyłkowców. Ideał hr. Kutuzowa, — polegający na zupełnej nieczułości na cierpienia bliźnich i na tchórzliwości, rezygnujący z góry z uciech życia z obawy przed rozczarowaniem, które po nich nastąpić może, — nie jest nowym. Pojawiał on się, ilekroć ludzkość ogarniała apatya, przesyt, wstręt do życia, słowem, „zmęczenie duszy“, a zawsze znamieniem wyrobienia pewnej generacyi. Ideał „absolutnego spokoju“ i nieczułości pojawił się, kiedy świat starożytny chylił się upadkowi, — z tym samym ideałem nasze stulecie kładzie się do grobu. Niechże ludzie, którzy do życia nie czują w sobie siły, wzdychają do grobu, do śmierci, do wiecznego spokoju, niechże Nirwana będzie ich ideałem, a bezczynność ich życiem! Kto w sobie czuje siłę do życia, ten inny zna ideał, — wznioślejszy, piękniejszy: pracę i poświęcenie dla bliźnich, dla ojczyzny, dla narodu, dla ludzkości. W pracy tej znajdzie szczęście i ukojenie, którego „umarli za życia“ szukać muszą w upojeniu haszyszem...

Hrabia Kutuzow od lat dwunastu nic nie napisał, co pod względem treści zasługiwałoby na uwagę. Rzecz to zastanowienia godna. Cóż bowiem oznacza ta długa bezpłodność? Czy hr. Kutużow, wypowiedziawszy w „Razswietie“ ostatnie swe słowo, milczy dla tego, że nic już nowego nie ma do powiedzenia, a powtarzać nie chce tego, co już powiedział? Ale też być może, że dwunastoletnia jego bezpłodność jest długim letargiem, wśród której zwolna odbywa się odrodzenie duszy i całkowite przeobrażenie pojęć poety śmierci. Być może, że z letargu powstanie poeta inny i uderzy w „strunę drugą“, w *życia* stal.

Paweł Styczyński.

Dwie powieści angielskie.

Olive Schreiner: Historya jednej farmy afrykańskiej.
Sarah Grand: Kobieta zbyteczna.

Lubię, gdy kobiety piszą o kobietach. Cóż my możemy wiedzieć o nich ze spostrzeżenia, z doświadczenia? Prawie nic. Przy tych olbrzymich różnicach budowy fizycznej i duchowej, jakie zachodzą między kobietą a mężczyzną, czyż warto zadawać sobie zmudną pracę odgadywania rebusów, do których klucza w znacznym stopniu mogłaby dostarczyć tylko logika obłudy, gdy daleko łatwiej jest dać kobiecie do ręki pióro. Niechaj piszą, niech się spowiadają. Autorstwo jest spowiedzią.

Mamy na widoku kilka powieści, napisanych z talentem i szczerością przez kobiety. Z powieści tych dowiadujemy się rzeczy, o jakich mężczyznom, filozofom i psychologom zawodowym serca kobiecego, nigdy się nie śniło.

Przyznam się, iż te spowiedzi kobiet są daleko bardziej interesujące i wzruszające niż męzkie. Bo gdy w mężczyźnie stado żądz zaczyna się niepokoić i ryczeć, prowadzi on je spokojnie do szlachtuza w sąsiednim zaułku, gdzie rzeźniczka miłości, zabija je jednym ciosem. Dla kobiet ta doraźna egzekucya żądz nie jest dostępna — w nich one się wikłają, pogłębiają i dla tego spowiedzi kobiece tchną nie sceptyzmem, lecz gniewem i szczerością.

Do takich dzieł należy „Historya jednej farmy afrykańskiej“, znana w całej Anglii; w ciągu kilku lat rozeszła się ona w kilkunastu wydaniach, ostatnie — w 80,000 egzemplarzach.

Autorka, pani Oliwe Schreiner, głosi tu cały kodeks emancypacyi kobiecej: równość obojga płci wobec prawa i moralności, dostęp do wszystkich karyer i zawodów, zaznajomienie młodych dziewcząt z realnością życia i protest przeciw niewoli małżeństwa, nie opartego na miłości.

Ten ostatni punkt autorka zrozumiała w sposób nader swobodny i niezależny od żadnych przesądów.

Miłość nie jest bynajmniej harmonią, ona jest walką, a raczej skutkiem walki. Serce cudze trzeba podbić, zwyciężyć, aby je posiąść. Tylko z walki może buchnąć ogień namiętności. Z tych zapasów jedna strona wychodzi zwyciężona, a obie związane. Kto kocha swą swobodę, nigdy nie będzie jej wiązał z miłością. Zdaniem autorki, swoboda raczej z małżeństwem już pogodzić się musi, niż z miłością. Ponieważ ona jednak nie chce się wyrzec ani swobody, ani miłości, a małżeństwo uważa za konieczną instytucyę, więc oddziela tę ostatnią od uczucia i rozkłada je na dwu odrębnych biegunach. Logika trochę zawikłana; posłuchajcie tylko:

Lyndall, bohaterka powieści, ma kochanka, nie chce go wszakże za męża, wybiera natomiast sąsiedniego fermera.

— Co to za człowiek? — zapytuje zdziwiony kochanek.

— Głupiec zwykły.

— I pani woli wyjść za niego, niż za mnie?

— Tak, gdyż pan nie jesteś głupcem.

— Jestto zupełnie nowa przyczyna odmowy wyjścia za mąż.

— Jestto powód nader rozumny. Od tamtego będę zupełnie wolną, od pana nie.

I objaśnia mu, iż kobieta rozumna nie powinna się przykuć na zawsze do mężczyzny, który powoływałby w niej ku życiu i działalności tylko niższą stronę jej natury. Dąb zagłusza naokoło wszystko, co jest słabsze. „Kochałam, gdyż byłeś silnym. Byłeś pierwszym człowiekiem, którego się bałam.“ W dłuższem pożyciu ona by go znienawidziła.

W tem oryginalnem oświadczeniu znajduje się, zdaniem naszem, myśl głęboka. Nic tyle, co miłość nie wytwarza stanów hypnotycznych i zatraty osobowości. Rzućcie naokoło siebie okiem. W każdem małżeństwie znajdziecie albo moralną, albo też umysłową ofiarę. Jestto zjawisko tak powszechne, iż go nawet nie spostrzegamy. Tam, gdzie na miejscu krytyki, niezależności zdań, przy rozstrzyganiu wszelkich kwestyi, występują, jako racye najwyższe i stanowcze, całusy i uściski, osobowość się zatraca.

Nadzieja połączenia mężczyzny i kobiety w doskonałej harmonii wydaje się być jedną z chimer nie do osiągnienia. Trzebaby w tym celu gruntownie zmienić całą naturę ludzką. W duecie miłosnym role mężczyzny i kobiety są fizyologicznie i psychicznie różne i dla tego o równości mowy być nie może.

Dla tego też w sprawach miłości przyszłość gotuje nam prawdopodobnie zjawiska, o jakich fi-

---

1) Walczyć, 2) owładnął jej duszą, 3) rozumem, 4) marzeniem, 5) chwilą zapomnienia, 6) spojrzy, 7) widmo, 8) nie ma przebaczenia.

1) Ciasno, 2) rośnie, 3) skrzydła, 4) potężne, 5) brwi, 6) nagle, 7) mrugnie, 8) milowy, 9) w zadumie złowrogiej.

lozofom się nie śniło. Gdy kobieta nie zechce grać roli gliny, z której artysta ma zrobić piękny wazon, ani instrumentu, na którym on ma odegrać przepyszną symfonię, ona zażąda zupełnego oddzielenia miłości od reszty życia i pod tym względem sądzimy, iż pani Schreiner, ujawniła głęboką przenikliwość i niezależność wobec kobiecych sentymentalistów. Z tego wszakże nie wniosek, aby po za miłością trzeba było wkładać na siebie jarzmo małżeńskie — jak ona tego chce — wywołując w ten sposób wrażenie głębokiego wstrętu.

Jesteśmy jednak znowu w zgodzie z autorką, gdy Lyndall mówi kochanemu: „A zresztą lubię doświadczenia, lubię próbować. Pan tego nie rozumiesz.“ Tak, jest rzeczą umysłów śmiałych zrywać zasłonę Izydy, chociażby nawet kosztem pęknięcia serca i zniszczenia przyszłości.

„Poprosiłam pana, aby mu wyłożyć mój plan; jeżeli on się panu podoba, dobrze; w przeciwnym razie wychodzę za mąż w poniedziałek.

— Na czemże ten plan polega?

— Nie mogę wyjść za pana, gdyż nie chcę się krępować, ale zawieź mnie pan tak, jeżeli chcesz, do Transvaalu. Jestto po za światem. Ludzie, których tam spotkamy, nie zobaczą nas nigdy potem. Gdy miłość się skończy, powiemy sobie: dobranoc.

— Oh, moja droga, rzekł, pochylając się nad nią z czułością, czemuż nie chcesz być zupełnie moją?

Potrząsnęła głową, nie spoglądając na niego.

— Nie, życie jest zbyt długie; ale pójdę z panem.

— Kiedy?

— Jutro.“

Stało się jak przewidziała. On umiał wprawiać w życie tylko niższą stronę jej natury. Pomimo więc, iż go kocha, opuszcza go, nie zwracając żadnej uwagi na jego prośby i błagania. „Pozwól mi wrócić do ciebie - pisze do niej — moja droga, pozwól się otoczyć moją ręką opiekuńczą. Gdy będziesz moją żoną, nikt nie ośmieli się podnieść palca przeciw tobie. Nauczyłem się kochać cię rozumniej, czulej niż kiedyś; będziesz zupełnie wolna. Na litość wyjdź za mnie.“

Otrzymała list ten w hotelu, gdzie musiała się zatrzymać dla porodu. Dziecko nie przeżyło kilku godzin. Odpowiedź brzmiała: „To jest niemożliwe. Dziękuję ci za uczucie, które mi oświadczyłeś, ale nie mogę cię posłuchać. Nazwij mnie waryatką, głupią — na twem miejscu świat by tak postąpił; ale wiem, czego mi potrzeba i jaką powinna być moja droga. Nie mogę wyjść za ciebie. Będę cię zawsze kochała — ale na tem wszystko skończyć się powinno. Ja chcę widzieć i wiedzieć; nie chcę być związaną z człowiekiem, którego tak wielce kocham. Nie boję się świata — przyjmuję walkę z nim“

Trzeba przyznać, że cytata powyższa więcej mówi o kobiecie, o tej stronie jej ducha, która jest zawsze w ukryciu, niż setki powieści, napisanych przez mężczyzn. Oni nam zawsze malują tchórzliwe gąski, tu mamy przed sobą niezależną bojowniczkę.

Przyzwyczailiśmy się względem kobiet do psychologii nader powierzchownej, a może i poczucie mniemanej wyższości nie pozwala nazbyt źle ich sądzić. I po co szukać nagości charakterów? Od sąsiada, z którym jemy przy wspólnym stole w restauracyi, wymagamy, aby był czysto ubrany. Jak wygląda pod szatą, mało nas obchodzi. Od kobiety wymagamy tylko piękna i elegancyi. One jednak same odsłaniają nam zadziwiające strony swych charakterów. Oto jeszcze przykład: Piękna Jersamine, jedna z gwiazd salonów londyńskich, ucieka w głąb Szkocyi, aby się uwolnić od związku małżeńskiego ze starym, obrzydliwym lordem Heriot, którego jej przeznacza rodzina. Spędza ona lato przy żniwach i na paseniu owiec. Podobał jej się piękny, barczysty chłop, o płowych włosach i niebieskich oczach, Colin, który nie ma wprawdzie ani jednej myśli wytwornej pod czaszką, ale tchnie zdrowiem i obietnicą rozkoszy. Lato działa, krew się burzy; Jersamine przychodzi do wniosku: „Muszę mu się oddać, lub umrzeć!“

Obawia się wszakże świata, przesądów, rodziny. „Nie śmiem! — woła — nie śmiem! Cała przyroda przeznacza mi go na kochanka. Wolę jego siły i prostotę, niźli całą kulturę londyńską. Mam dość kultury. Ale nie śmiem!“ Nareszcie ulegnie sile namiętności. Przyjdzie na świat dziecko? To i cóż! I owszem, będzie ono zdrowe i piękne. Niechaj sobie znajomi londyńscy powiedzą co zechcą. „Będę z nimi otwartą. Trzymam me dziecko na ramieniu i powiadam im: Jest to dziecko człowieka, którego kocham i któremu zawsze będę wierną, jakkolwiek nigdy więcej go nie zobaczę. Nigdy nie widziałam człowieka tak dobrego, tak uczciwego i tak pięknego; i wziął moje serce odrazu. Był to chłop, który żył w chacie i pracował w polu. Miał postać wspaniałą przy żniwach. Uczęszczał do szkoły, ale to nie ma żadnego znaczenia; nie czytał wiele, lecz natomiast mówił rzeczy pogodne i rozumne. Boję się, iż nigdy nie czytał wierszy, ale oczy jego były poematami. Nie miał przygód i nałogów. Był zdrów. Promieniała zeń taka potęga dobroci, iż wystarczyło jego spojrzenie, abym się czuła lepszą. Nie mogłam wyjść za niego, gdyż byłam niezdolną do wykonania obowiązków, które przypadałyby w udziale jego żonie; ale kochałam go tak, iż oddałam mu się z dreszczem rozkoszy. A oto moje dziecko.“

Fantazya wielkiej damy dla chłopa jest nam bardzo zrozumiała ze względu na żywiołowe piękno, które w nim artystka odszukać może.

Ale, że w kobietach istotnie takie popędy istnieją, i że one ośmielą się je wypowiedzieć, tego nie można było się spodziewać, zanim kobieta sama o sobie nie zaczęła pisać.

Z charakterystyk, pisanych przez mężczyzn, kobietę można było uważać za rodzaj dzikiego, który ma na sobie torbę z fetyszami i w każdym danym wypadku doskonale wie, który z nich trzeba użyć: ząb żmii od złego spojrzenia, muszlę — gdy kot przebiegł drogę i t. d. Wydawało się, iż są to istoty mocno zahypnotyzowane, mające kilka pewników, według których sądzą i urządzają życie całe i wszechświat. Okazuje się wszakże, że i one w ukryciu doświadczają szlachetnej boleści wiedzy i zwątpienia. Zresztą impertynencyi „d'une grande dame“ wszystko jest dozwolonem, nawet kaprys dla chłopa. Colin wszakże okazuje się zwykłym, bogobojnym „chamem“. Gdy się znalazł sam na sam w stodole z piękną Jersaminą, która mu zawisła na szyi, wyobraził sobie, iż ona chce go obrać za męża i nic go z szacunku wyprowadzić nie może. „Nic pani złego nie zrobię — Colin nie chciałby nigdy pozbawić honoru swej żony“. Ten osieł wyobraził sobie, iż byłby znakomitym mężem królowej salonów londyńskich, a w żaden sposób nie mógł zrozumieć roli, w której tyle się po nim spodziewano. Trzeba się było wyrzec idylli. Jersamina ucieka zniechęcona do Londynu, wychodzi za starego Heriota, który obdarzył ją dwojgiem dzieci skrofulicznych i napół przegniłych...

L. W.

Wychowanie i szkoła.

Z pola walki pomiędzy realizmem a klasycyzmem o szkołę wyższą w Prusiech.

Niedawno temu pomieściliśmy w „Przeglądzie rozprawę p. Romualda Łazęgi, w której autor daje sumaryczny pogląd na przebieg walki, jaka w ciągu ostatnich lat trzydziestu wszczęła się w Prusiech pomiędzy dwoma przeciwnemi prądami umysłowemi: klasycyzmem i realizmem, o posiadanie szkoły wyższej. Dziś z pola tej walki zanotować nam wypada dwa zjawiska, świadczące o tem, iż spór ten zasadniczy ostatnią reformą szkolną bynajmniej nie został definitywnie usunięty. Albowiem wspomniany i w wymienionej rozprawie autor, kryjący się pod przybranem nazwiskiem Alethagorasa, filolog z zawodu, ogłosił w czasach ostatnich znowu dwie rozprawki przeciwko gimnazyum klasycznemu, Jedna z nich p. t. „Unser Gymnasialunterricht. Bekenntnisse von Alethagoras“, jest drugiem wydaniem rozprawy pod tymże tytułem, zastosowanem do zmian, wywołanych w ustroju gimnazyum klasycznego przez reformę z r. 1892. Druga: „Gymnasiale Erziehung und sittliche Bildung der Jugend“, jest poniekąd uzupełnieniem pierwszej. Obie zaś zawierają choćby tylko ze względu na to, iż i naszej młodzieży znaczny odłam w gimnazyach klasycznych pobiera swą umysłową strawę, rzeczy i dla nas interesujących tak wiele, iż pozwalamy sobie rozbiorowi ich nieco więcej poświęcić miejsca.

„Unser Gymnasialunterricht“ składa się z dwóch części: w pierwszej autor stara się wykazać, iż ona mniemana niezbędność studyów klasycznych w celach wykształcenia ogólnego polega po części na przesadnem wyobrażeniu o ich wewnętrznej wartości; w drugiej dowodzi, iż jednostronne przesycanie młodzieży klasycyzmem na jej rozwój moralno-umysłowy wprost zgubne wywiera wpływy. Twierdzenie, powiada on, jakoby studyum starożytności dla naszej młodzieży z tego powodu było niesłychanie ważnem, iż nasza nowoczesna cywilizacya rozwinęła się na podstawie cywilizacyi starożytnej i stąd przez tego tylko dostatecznie zrozumianą być może, kto dostatecznie obeznał się z starożytnością, jest mylnem. Przeczyć bowiem wprawdzie nie można, iż pomiędzy cywilizacyą nowoczesną a cywilizacyą starożytnego świata istnieje pewien związek, ale ten związek podobny jest temu, jaki ongi istniał pomiędzy cywilizacyą grecką a cywilizacyą karyjską i egipską. I o tem bowiem wątpić się nie godzi, iż Grecy pierwsze impulsy cywilizacyjne otrzymali od wyżej ukształconych Karyjczyków i Egipcyan. Ale te zarodki cywilizacyi rozwinęli oni tak oryginalnie, iż stworzyli z nich coś nowego, im tylko właściwego. Kubek w kubek to samo stało się z cywilizacyą nowoczesną. Powrót do studyów klasycznych w wieku XV i XVI był tylko jednem ogniwem w łańcuchu tych wydarzeń, których owocem jest nasza obecna cywilizacya. Ale ta cywilizacya jest mimo to wytworem zupełnie oryginalnym społeczeństw nowoczesnych, owocem wielu i wielu trudów, i tylko sama ze siebie ocenioną i sądzoną być winna. Że niestety nie jest ona jeszcze tem, czemby być mogła i winna, jest to po części skutkiem skrzywienia i skarłowacenia, jakiego umysł młodzieży doznaje przez zbyt jednostronne zajmowanie się studyami klasycznemi.

Również nieuzasadniona jest teza o niezrównanej doskonałości zabytków literackich starożytnego świata. Wprawdzieć bowiem w jednym względzie przyznać im można wyższość nad utworami literatur nowoczesnych, t. j. pod względem artystycznego wykończenia formy, — Ale ta zaleta jakiemiż okupiona niedostatkami! Jakaż niedokładność w przedstawieniu rzeczy, jaka naiwność i jednostronność całego sposobu myślenia i odczuwania u autorów starożytnych! Te braki występują osobliwie wybitnie w autorach rzymskich i stąd też nie bez pewnej racyi jest twardy sąd o nich Edwarda Hartmana, iż wszyscy oni nie warci, aby ich czytać po gimnazyach. Inaczej ma się rzecz z autorami greckimi, którzy pod względem zewnętrznej zawartości o całe niebo przewyższają klasyków rzymskich. Ale tu trudność formy staje na zawadzie dostatecznemu zrozumieniu treści przez ucznia i stąd to pochodzi, iż w pamięci byłych gimnazyastów męka przebyta przy ślęczeniu klasyków greckich zapisuje się o wiele krwawiej niż przy klasykach łacińskich.

Nieprawdą jest zatem, iż pod względem przydatności pod względem naukowym klasyków starożytnych zastąpić nie można żadną inną literaturą. Czyż zresztą podobna do prawdy, aby

narody, które około rozwoju oświaty tak niespożyte położyły zasługi jak angielski i francuzki nie miały nic stworzyć, coby pod względem wartości dorównywało kilku ze związku wyrwanym rodziałom Cezara, Tacyta, Herodota lub Ksenofonta? Przedewszystkiem jednakże powinien młodzieniec niemiecki obeznać się dokładnie z literaturą niemiecką. Niestety, w tym względzie najnowsze plany nie spełniły nawet najskromniejszych oczekiwań. Wprawdzieć bowiem zawierają one postanowienie bardzo rygorystyczne, iż w miejsce niewystarczającej pracy niemieckiej kompensacya w innych przedmiotach nie jest dozwoloną i że niewystarczająca cenzura w niemieckiem unicestwia choćby najświetniej złożony egzamin, ale ten rygoryzm prowadzi tylko do zniechęcenia ucznia do nauki ojczystego języka. Ponieważ bowiem ogólna ilość godzin tygodniowych w niemieckim języku tylko o trzy została pomnożoną, przeto nauczyciel niemieckiego, chcąc zadosyćuczynić wymaganiom, stawianym przez nowe plany, zmuszony jest napiąć domową pilność ucznia do najwyższego stopnia. Miecz zaś Damoklesowy egzaminu z jego rygorystycznymi przepisami, wiszący wiecznie nad głową ucznia, każe mu zbyt często w niemieckim języku upatrywać główną zawadę jego postępów.

Niemniej ważnem jest to, co autor mówi o wartości studyów klasycznych jako środka wychowania młodzieży do idealizmu. Jeśli idealizm, powiada on, polega na odwróceniu od rzeczywistości, natenczas przyznać trzeba, iż nie ma środka skuteczniejszego do zaprawienia młodzieży do idealnego sposobu myślenia. Jeśli jednakże idealizm jest zmierzającym do ujawnienia w czynie zapałem do tego, co dobre i piękne, zmysłem idealnym, który świadomie zmierza ku celom najwyższym, natenczas nie może on się obyć bez pewnej praktycznej zdolności i zręczności rozpoznania idealnych zadań czasów obecnych i wyszukania środków najodpowiedniejszych do ich urzeczywistnienia. Tej zaś zdolności nie wyrabia gimnazyum klasyczne w swych wychowańcach po pierwsze dla tego, iż nauka języków starożytnych zajmuje w nich kosztem wszystkich innych przedmiotów zbyt wiele miejsca i czasu, a po drugie dla tego, iż przewrotny układ nauki zapełnia głowę młodzieńca fałszywemi pojęciami, z pod władzy których później z trudnością tylko się wyzwala.

Pomiędzy tymi przedmiotami, które po gimnazyach z powodu jednostronnej przewagi studyów klasycznych doznają uszczerbku, stoją na naczelnem miejscu nauki przyrodnicze. Niedostateczność zaś wykształcenia w tym przedmiocie dotkliwie daje się uczuć nietylko przyrodnikowi z zawodu i medykowi, ale w ogóle każdemu wykształconemu człowiekowi. Rozwój nauk przyrodniczych stanowi bowiem chlubę i ozdobę naszego wieku, a wpływ ich sięga w najdalsze kończyny naszego życia. Dominujące stanowisko, jakie sobie zdobyły wśród ruchu umysłowego naszych czasów, nie jest zatem uzurpowane, jak to twierdzą filogolowie, tylko dokonało się w sposób naturalny, prawidłowy. Z tego też powodu wymagać by należało, aby każdy człowiek, do miana wykształconego roszczący sobie pretensye, przynajmniej tyle posiadał w tym zakresie pozytywnych wiadomości, ile potrzeba aby ruch na tem polu umysłowej działalności mógł zrozumieć w najogólniejszych zarysach. Tych zaś wiadomości gimnazyum klasyczne uczniom swym nietylko nie daje, ale nadto zabija w nich zmysł i poczucie piękna natury. Albowiem wieczne zakopywanie się w zbutwiałości dawno minionych piękności, wieczne ślęczenie nad leksykonami i foliantami, osobliwy zapach papieru i drukarskiego czernidła przytępia w nas zdolność odczuwania natury i sprawia, iż czujemy się tylko zadowolnionymi wśród swędu naszej lampy albo też... niekiedy — wśród piwnych wyziewów knajpy.

Podobnie jak z naukami przyrodniczemi dzieje się z nauką historyi. I tutaj bowiem bezwarunkowa przewaga historyi starożytnej nie pozwalała do niezbyt dawnego czasu uwzględniać w należytym stopniu historyi nowoczesnej. Działo się to zaś ze szkodą nieobliczoną uczącej się młodzieży. Albowiem korzenie dzisiejszego rozwoju leżą nie w owych zamierzchłych czasach Greków i Rzymian, tylko w onym wielkim procesie przetwórczym, jaki ogarnął społeczeństwa europejskie od wstąpienia Ludwika XIV i trwa aż po nasze czasy. Jest przeto szczegółowe traktowanie historyi tej epoki po szkołach naszych o wiele ważniejsze niż najsubtelniejsze wiadomości z dziedziny historyi starożytnej. Ta uwaga skłoniła też zapewne twórców najnowszych planów do większego uwzględnienia historyi nowoczesnej. Niestety, stało się to w sposób tak niewystarczający i tak mało odpowiedni, iż niewielkiej tylko zmiany na lepsze spodziewać się można. Natomiast wielce pochwały godną jest myśl zaprowadzenia po gimnazyach w związku z nauką historyi nauki o rzeczach społecznych i ekonomicznych. Niestety, czas temu przedmiotowi poświęcony jest tak szczupły, iż niepodobna się spodziewać, aby stąd wynikło co gruntownego. A że połowiczność wiedzy nigdzie nie jest szkodliwszą jak na tem polu, przeto też wykład tego rodzaju pod pewnymi warunkami więcej może przynieść szkody niż pożytku. Żałować także należy, iż w tej nauce o sprawach życia praktycznego pominiętą ma być zupełnie nauka o zasadniczych pojęciach państwowego prawa niemieckiego i pruskiego. A przecież nasza konstytucya, nasze prawo wyborcze, prasowe i prawo o stowarzyszeniach i zebraniach, organizacya naszego sądownictwa i administracyi są to pierwszorzędne czynniki życiowe, a stąd znajomość najogólniejszych pojęć na tem polu jest niezbędnym warunkiem wykształconego człowieka. Brak zaś tej znajomości tem dotkliwiej daje się uczuć w późniejszem życiu, iż wyjąwszy tych, którzy z konieczności temi sprawami zajmować się muszą, niewielka tylko cząsteczka młodzieży z wyższem wykształceniem znajduje czas i sposobność zaradzenia swej absolutnej w tej mierze niewiadomości.

L.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków, 22 stycznia.

(*Cholera. Muzeum Czartoryskich. Gimnazyum św. Anny. Towarzystwo Sztuk Pięknych. Nagrobek Popiela. Związek literacki. Z teatru. Miscellanea*).

Nareszcie dowiedzieliśmy się, jak wielką była cholera w Krakowie w r. 1894. Urzędowo nie istniała, bo szło o wystawę lwowską. Pisma milczały, żadnych większych ostrożności nie przedsiębrano, nawet się nie starano o większą czystość w mieście, a cholera przecież była. Zawiadomiło nas o tem sprawozdanie szpitala Bonifratrów, przy którym znajdował się tymczasowo otworzony oddział dla chorób zakaźnych. W samym lazarecie przy szpitalu Bonifratrów umieszczono 109 osób zapadłych na cholerę, z których zmarło 66. Jeżeli weźmiemy na uwagę, iż nie wszyscy dostali się do lazaretu, a więc do podanych liczb dorzucić coś jeszcze należy, to przekonamy się, że prawie nieświadomie przebyliśmy dość groźne chwile. Wspomniawszy o szpitalu Bonifratrów, należy zaznaczyć filantropijne zasługi Konwentu. Utrzymuje on się z darów, nie posiada wielkich stałych dochodów, a przecież zwraca się z miłością ku chorym i cierpiącym niedostatek. W roku zeszłym leczono w jego szpitalu 654 chorych. Podczas restauracyi jednego z oddziałów, chorzy przez sześć miesięcy umieszczeni byli w celach zakonników. W bieżącym roku ma być założony stały oddział chirurgiczny z odpowiednią salą operacyjną i ogrodem dla chorych; dobudowaną też zostanie nowa trupiarnia, szpital ma otrzymać pokrycie dachówkowe, zakupić aparat desinfekcyjny itd. Przy tylu przedsięwziętych ulepszeniach, a braku odpowiednich środków konwent Bonifratrów odwołuje się do ogółu, prosząc o wsparcie dla tej jednej z najstarszych w Krakowie instytucyi dobroczynnych (szpital został założony w roku 1616, a klasztor przy nim zbudowano w roku 1688).

W imieniu spadkobierców ks. Władysława Czartoryskiego wniesioną została prośba do Rady miejskiej, aby pozwoliła Muzeum Czartoryskich rozszerzyć ku Bramy floryańskiej. Rozszerzenie to musiałoby powstać kosztem zburzenia części starych murów fortecznych wraz z basztą stolarzy. Są to i tak już tylko resztki: Kraków z każdym rokiem przyjmuje coraz więcej cechy miasta nowożytnego. Chociaż więc Muzeum Czartoryskich jest instytucyą pierwszorzędnego znaczenia, nawet dla niego nie należy robić wyjątku, nie wolno po prostu miastu pozbywać się charakteru, którym się wyróżnia głównie z pośród innych miast polskich. Z tego powodu Rada miejska nie mogła się przychylić do prośby spadkobierców, a uwzględniając znaczenie Muzeum, poruczyła odpowiednim swoim organom, aby zaprojektowały w innym kierunku rozszerzenie gmachu muzealnego.

Od dawien dawna myślano o innem rozszerzeniu, a mianowicie o przybudowaniu nowego skrzydła biblioteki Jagiellońskiej. W tym celu potrzeba przenieść gimnazyum św. Anny dotykające do murów biblioteki. Nie wiem, jak właściwie projekt się przedstawia, a zanim się postaram o tem dowiedzieć, winieniem zaznaczyć przypuszczenie, iż gmach gimnazyum św. Anny (dawne liceum nowodworskie) zostałby zapewne tylko przerobiony, gdyż należy również do starych zabytków Krakowa i posiada charakterystyczny dziedziniec. Władze rządowe chcąc go odstąpić dla rozszerzenia biblioteki, szukały innego miejsca na wybudowanie gimnazyum. Prowadzono w tym celu układy z konwentem OO. Franciszkanów, który posiada całkiem odpowiedni plac na rogu plantacyi naprzeciw pałacu biskupiego. Ale rokowania nie doprowadziły do pomyślnego rezultatu i rząd traktuje obecnie z właścicielem placu na tak zwanych Groblach w pobliżu Wisły i Zamku. Nie zdaje mi się, aby miejsce było stosownie wybrane, bo leży w dzielnicy mało zamieszkanej, zdala od środka miasta.

Towarzystwo Sztuk Pięknych natychmiast po śmierci Rodakowskiego przystąpiło do wyboru nowego prezesa. Został nim hr. Edward Raczyński, poseł na sejm krajowy, i, jak zawiadamia komunikat dyrekcyi Towarzystwa, „znany miłośnik sztuki.“ Zabawnie się spisał „Tygodnik Illustrowany“, podając portret t „miłośnika“ z podpisem: nowy dyrektor Sz Sztuk Pięknych (!) — przez to nikomu znany „miłośnik“ wyrósł na osobistość w boć przecież nie daje się portretów tnych osobistości. Pospieszny wybór Rodakowskiego okazał się koniecznym iż organizacya Towarzystwa weszła fazę. Donosiłem już, że filia lwowska za się w odrębną instytucyę, ztąd też krako Towarzystwo przestało się nazywać „zjednocz nem“ i ograniczyło swoją działalność na K ków. Dla ułatwienia rozwoju nowego To rzystwa lwowskiego, uchwaliła dyrekcya T rzystwa krakowskiego oddać mu na włas cały inwentarz, znajdujący się w lokalu wystaw lwowskiej oraz zostawić mu remanent kasow tytułem pożyczki do 1 lipca 1895 r.

Płyta nagrobkowa śp. Pawła Popiela, dłu Piusa Wetońskiego, odlana w bronzie w zak dzie Nellego w Rzymie, wmurowaną już z w ścianę wewnętrzną kościoła Marjac przy wejściu bocznem, od strony ulicy Fl skiej. Przedstawia ona w płaskorzeźbie postać Popiela w ubiorze polskim, w c vartych naturalnej wielkości. Dzienn dają napis pod płaskorzeźbą. Nie miał sobności sprawdzić o ile to podanie jes godnem, ale ponieważ nie mam powodu w o tej wiarogodności, przeto zaznaczam, iż

i składnia napisu pozostawiają niesłychanie wiele do życzenia. A przecież Popiel tak dobrze pisał po polsku, iż należało w napisie na jego pomniku unikać błędów rażących. Przypominają mi się plakaty komitetowo-magistrackie za czasów jubileuszu Kraszewskiego i pogrzebu Mickiewcza, które dowodziły jak mały wpływ pod względem języka wywarł wielki poeta i najpłodniejszy powieściopisarz na... magistrat krakowski.

W „Związku literackim“ bardzo interesującą i zręcznie podaną pogadankę miał p. Stefan Kossuth, znany inżynier, prezes ostatniego zjazdu techników we Lwowie. Rzadko udzielane w „Związku“ oklaski, któremi podziękowano prelegentowi, były dowodem, jak treść pogadanki zajęła słuchaczy, lubo nie było w niej nic mającego związek z literaturą. Prelegent jasno i przejrzyście skreślił w lekkim szkicu dzieje przemysłu fabrycznego w Królestwie Polskiem i wykazał jego znaczenie społeczne, oraz strony ujemne. Kiedy mowa o „Związku“ należy zaznaczyć, iż wystąpił on z działalnością na zewnątrz, objąwszy stale w „Świecie“ rubrykę sprawozdań literackich. W ostatnim numerze tego pisma pomieszczono ich kilkanaście, wyszłych z pod pióra pp. Adama Chmiela, Feliksa Konecznego, Józefa Tretiaka, Kazimierza Bartoszewicza i Romana Zawilińskiego. „Związek“ pragnie temi sprawozdaniami wywrzeć pewien wpływ na krytykę literacką w Galicyi. Potrzebuje ona rzeczywiście reformy, bo nie jedno dzieło zabija milczeniem, nie zawsze się kieruje w wyborze omawianych książek względami literackiemi i naukowemi, a zna przeważnie dwie tylko metody: dyletancki panegiryzm, lub osobistą napaść. Rzadko poruszam w moich korespondencyach repertuar teatru krakowskiego, ale czuję się w obowiązku zaznaczyć niezwykłe powodzenie „Intratnej posady“ Al. Ostrowskiego. Zdawałoby się, iż sztuka rosyjska, osnuta na życiu wewnętrznem, że tak powiem domowem innego społeczeństwa, odbiegająca zresztą od form dramatycznych, przyjętych przez dominujący w teatrze kierunek zachodni, nie może mieć warunków powodzenia na scenie krakowskiej. Tymczasem dawno nie zdarzyło mi się widzieć takiego zainteresowania publiczności. „Intratna posada“ stała się od tygodnia wybitnym tematem rozmowy w kołach inteligencyi, co dowodzi jej rzeczywistej wartości. Do powodzenia sztuki przyczyniła się również wyborna gra p. Kamińskiego w roli naczelnika. [C]eniony ten i zawsze lubiany aktor, rolą tą stanął na wyżynie uprawianej przez siebie sztuki.

„Czas“ pomieścił w fejletonie dobrze napisaną sylwetę Henryka Rodakowskiego pióra p. Stanisława Tomkowicza. — W teatrze występował p. Ludwik Wierzbicki znany baryto[n]. — Dla dwóch wnuczek siòstr Kościuszki, ...nskiej i p. Niwińskiej, zostających w zu...nędzy, przesłał p. Schmyler, wiceprezes ...cyi posiadaczy orderu Cincinnatus, zapo...ło 90 złr. wynoszącą. Wstyd do... iż aż z Ameryki muszą przychodzić ...e dla tych dwóch staruszek. Przynaj...dną z nich, jako *hrabiną,* mogłaby się ...ować arystokracya galicyjska. Ale ary...cya ta zapewne kontenta, że ją Ameryka ...ręcza.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA BERLIŃSKA

Berlin, 18 stycznia 1895.

...*życia politycznego i artystycznego — Uchwała akademików.)*

Nie zawsze tak wyraźnie jak w chwili ...uwydatniają się dwie strony życia ber...: polityczna i literacko-artystyczna.

W zeszłym tygodniu zajmowały wszystkich mowy w parlamencie i obrady nad projektem antiprzewrotowym: wieczorem i późno. w noc sprzedawano po ulicach nadzwyczajne dodatki dzienników tutejszych z najświeższemi mowami deputowanych, a ciekawość tłumów wypełniała przekupniom kieszenie. Jedno z tutejszych pism humorystycznych zamieściło zaraz, pijąc do mowy Gröbera (centrum) wesoły artykulik mniej więcej trj treści: Jeżeli rząd chce ograniczyć wolność prasy, a co lepsza wolność profesorów na katedrach uniwersyteckich, to powinien się przedewszystkiem wziąć do radykalnego oczyszczenia literatury niemieckiej. A więc precz z Goethem i z jego Faustem, tą dumą Niemców, bo czyż to nie wprost naigrawanie się z religii w znanych słowach Fausta:

> Habe nun, ach, Philosophie,
> Juristerei und Medicin
> Und leider auch — Theologie
> Durchaus studiert... itd.

Spalcie dalej Heinego, bo któż widział patrzeć za jego rybakiem na czarującą lecz nagą Lurley!

Dalej odwiedziny Hohenlohego u Bismarcka intrygują prasę i czytających. Upatrują w tem demonstracyjny zwrot i powrót do polityki Bismarcka, bo pocóż jeździłby Hohenlohe, jeżeli nie wprost po wskazówki i nauki do żelaznego starca, który z dumą sam do siebie zawołać może: Galilee vicisti!

Na chwilę zajęło wczoraj umysły otwarcie sejmu pruskiego i mowa tronowa, z treści której giełda przedewszystkiem korzystne dla siebie wyciąga wnioski; dziś znowu niespodziewana wiadomość o złożeniu urzędu, właściwiej o ucieczce i uchyleniu się z niebezpiecznego stanowiska Casimira Perier jest przedmiotem głośnych mów i rozpraw, przypuszczeń i domysłów.

Obok tego politycznego życia płynie sobie żwawo strumień życia literacko-artystycznego, ożywiony od dni kilku nowem dziełem Ibsena „Mały Eyolf“, którą to premierę „Teatr Niemiecki“ ostatniej Soboty wystawił.

Ponieważ „Przegląd Poznański“ drukuje właśnie obszerniejszą o dramacie tym rozprawę, nie będę się więc wdawał w bliższy jego rozbiór. Zrobię tylko uwagę, której dotąd nie znalazłem w recenzyi p. Nobody. Pomijając mniej lub więcej zagadkową myśl utworu, chciałbym wskazać jedno psychologiczne, wysoce prawdziwe spostrzeżenie norwegskiego autora. Kiedy po tragicznej śmierci Eyolfa widzimy ojca jego wpatrzonego w straszne nurty, które mu syna pochłonęły, to smutek głęboki serca nasze ogarnia i czujemy z nim razem. Po chwili jednak ojciec ten zdaje nam się przed samym sobą grać komedyę, kiedy nagle zrywa się i wyrzuca sobie, iż mógł na chwilę o dziecku swem zapomnieć, syna wypuścić z pamięci — a wrażenie to potęguje się, kiedy, sam siebie niby chcąc ukarać za to, wydziera się na brzeg wody, by tam na dnie szukać swej straty, lecz po kilku słowach siostry zaraz od zamiaru odstępuje. Traci na tem w oczach naszych bohater dramatyczny, zyskuje Henryk Ibsen jako autor, psycholog głęboki i obserwator. Bo czyż tak nie jest w istocie, że ludzie w najtragiczniejszych życia chwilach nie tylko przed światem, lecz i przed samym sobą grają nieraz komedyę, jak gdyby stali na deskach teatralnych?

Sztukę tę grano wobec przepełnionego teatru. Gdy po akcie pierwszym publiczność oklaskiwała i aktorów i autora, wyszedł dyrektor teatru, by oznajmić publiczności, że Ibsen nia mógł przybyć do Berlina, bo równocześnie przygotowuje przedstawienie w Chrystyanii; przesyła jednakowoż widzom zapewnienie, że duchem będzie przy nich i z nimi.

„Z oklasków, jakiemi go państwo darzycie, widzę, że tak jest w istocie“ kończył dyrektor. Nie tyle oklaski jednakowoż świadczyły o tem, że publiczność berlińska dorosła do wyżyn Ibsenowskiej myśli, ile ta głęboka, wielka cisza, panująca wśród audytorium od początku do końca przedstawienia, lubo w trzecim akcie spokojna akcya w większej części tylko w szkatułkach mózgowych dwóch osób się toczy. Nie wiedziałem, co więcej podziwiać: czy aktorów (Sormę w roli Rity), czy Berlińczyków, dość, że bezwiednie żal mi serce ścisnął, gdym pomyślał o innem mieście i o innym teatrze, i mówiłem sobie: jakże moim jeszcze daleko do tego poziomu i do tej cywilizacyi przeciętnego Berlińczyka!

Towarzystwo naukowe Polaków w Berlinie nie tylko wstrzymaniem się od tańca zaznaczyć chce smutnej pamięci rok 95. Byłaby to tylko zewnętrzna forma, tylko połowiczna żałoba. W dobrem zrozumieniu rzeczy i potrzeb towarzystwo to pozytywną żałobą zaznaczy swój byt i działalność, zajmując się oświecaniem polskich mas robotniczych w stolicy niemieckiej.

Przynajmniej taki wniosek przeszedł na ostatniem zebraniu zeszłorocznym tegoż towarzystwa, życzyć tylko wypada, by nie zbyt długo czekał na urzeczywistnienie.

Z estrady i sceny.

Występy Heleny Modrzejewskiej.

II.

Elektryzowała niegdyś „Fedora“ europejską publiczność, — elektryzowała ją więcej może niż inne dramaty Sardou i rodzeństwa jego. Dziś czar ten utracił potęgę swoją, bo imię jego było: „aktualność“. Gdy echa bomb petersburskich przebrzmiały i nihilizm, bądź to na szubienicach, bądź w więziennych lochach najżywotniejszą cząstkę swej duszy wyzionął, przestał pociągać ten dramat szerokie tłumy, uwielbiające sztukę jako illustracyę dziennikarskiej „haute nouveauté“, — scenę, jako dramatyzowany „Ekstrablatt“. A mimo to „Fedora“ w towarzystwie „Damy kameliowej“, „Adrienny Lecouvreur“, „Frou — Frou“ i kilku innych „kiczów“ scenicznych, oparła się duchom zniszczenia i żyje. Nie nęci tam prawdy i piękna nieśmiertelność, zginęła aktualność, lecz została — rola. Dzieje rozpaczającej, zemstą dyszącej, miłującej, dręczonej sumieniem, czołgającej się u nóg kochanka, trującej się i umierającej Rosyanki, to temat godny mistrzów techniki scenicznej, to skarbnica olśniewających efektów i zwierciadło talentu nie tyle dla artysty-psychologa ile dla artysty-wirtuoza. Tu wstrząsająca potęga szczegółów zasłonić musi błędy kompozycyi, tu moment psychologiczny powinien nakazać milczenie refleksyi i wymazać z mózgu pytanie: Czy ta „Fedora“ jako całość jest życiem, czy sztucznym produktem, — człowiekiem, czy Homunculusem. Modrzejewska pokusiła się o tryumf artystki nad autorem, o przelotną rehabilitacyę sztuki przed publicznością i — zwyciężyła.

Widziałem kilka razy „Fedorę“ na wielkich scenach europejskich i wynosiłem zawsze nieomal wrażenie, że utwór ten przedstawia nawet dla pierwszorzędnych talentów poważne niebezpieczeństwo. Jest tam tyle sytuacyi jaskrawych, tyle pokusy dla amatorstwa „sztuczek“, tyle błyskotek i fajewerkowych akcentów, że trzeba nosić w duszy niemało miary artystycznej, aby tej postaci scenicznej nie ustroić w pawią pstrokaciznę. Tu nietylko barw dorzucać nie wolno, lecz wręcz soczystość niektórych kolorów łagodzić należy.

Żałowałem istotnie, że nie mogłem Heleny Modrzejewskiej w tej właśnie roli zaprezentować heroinom berlińskich i wiedeńskich teatrów, a mianowicie bawiącej obecnie w Poznaniu na gościnnych występach pani Barkany. Przekonałbym je może, że wyzyskiwanie i tworzenie efektów nie jest bynajmniej pierwszym atutem sztuki dramatycznej, — że nieraz potężniejsze wrażenie osięga przytłumienie światełek i dyskretne zawoalowanie błyskotek. Zdawało mi się w czwartkowy wieczór, że Modrzejewska w scenach sztucznie naprężonych

i sytuacyach zdradzających śrubę autorską stara się usilnie o wprowadzenie ludzkich akcentów, niejedne tony pomija tendencyjnie, niejedną rakietę dusi w swej ręce, zamiast prezentować ją widzom: Patrzcie! jak to świeci! Oczywiście pozostała artystka słynna, jak w innych utworach nowoczesnych, tak i w roli „Fedory“ wierną tradycyom sztuki, wierną klasycyzmu prawidłom. Była ona nieraz tak piękną w swojej deklamacyi, ruchach i wygięciach, że przypominał mi się chwilami styl menuetowy, a chwilami formy starogreckiej rzeźby. I były takie momenty w tej grze wytwornej, że żal czułem prawie do artystki wielkiej, bo za piękną była, za klasycznie piękną. Nie widziałem Eleonory Duse w tej roli, ale opowiadano mi, że w chwili konania wielka realistka włoska skręca się na ziemi w kurczach śmiertelnych, a potem powtarzając kilkakrotnie „Loris!“ kona w ramionach kochanka z jakimś cierpkim jękiem i skrzywieniem strasznem. Modrzejewska natomiast, opróżniwszy krucyfiks srebrny z jadu trującego, i wychyliwszy czarę kryształową z płynem zabójczym, zaledwie lekkim grymasem uzewnętrznia fizyologiczne objawy zatrucia, jakby ból duszy zagłuszył wszystko... każdą inną mękę. A potem wznak się przewraca i padając na szezlong, kreśli linię piękną i tworzy — posługując się gwarą malarską — „akt“ iście akademicki...

Mniej „akademii“ zdradzała „Dama kameliowa“, która do najlepszych kreacyi wielkiej artystki zaliczam. Z tej suchotnicy nie płynęła ku widzom atmosfera kliniczna, a mimo to czułem śmierć na scenie, — śmierć, wygryzającą resztki płuc Małgorzaty Gautier. W akie piątym była Modrzejewska jak lampa dogasająca, światełko drgało, na chwilę jasnym strzeliło płomieniem, i mrok śmiertelny ogarnął duszę, odkupioną przez miłość. A o tej wielkiej miłości mówiło nam każdo drgnienie głosu, każdy błysk źrenic i wyraz oblicza. Modrzejewska posiada niezwykły talent uzewnętrzniania wrażeń psychicznych, wyłącznie za pomocą oczu i muszkułów twarzy. Oczami wpija się nieraz w towarzysza dyalogu a nieznacznemi ruchami powiek i warg zdradza wszystko, co w głębinach duszy się dzieje, — cały rezultat psychiczny wysłuchanej powieści. Modrzejewska w dyalogu nie jest nigdy bierną. Milcząc słucha, a słuchając mówi. Chyba, że postulat roli myśl jej uprowadza. Wtedy czujesz, że dusza jej błąka w oddali.... Nasze artystki w tym właśnie względzie mogłyby się wiele od słynnej koleżanki nauczyć. Tu oczywiście niezbędnem jest w pierwszym rzędzie pamięciowe opanowanie roli, bo jeżeli aktor w czasie przemówień partnera namyśla się nad własną odpowiedzią i ku suflerowi spogląda, to spójni między osobami dyalogującemi publiczność nie odczuje nigdy.

I pragnąłbym jeszcze zwrócić tu uwagę na niezwykłą harmonię kostyumów i typu, cechującą każdą kreacyę gościa naszego. Helena Modrzejewska nie pragnie być żywym żurnalem, lecz szuka w tualecie sprzymierzeńcca swej roli. I dla tego w sukniach „Damy kameliowej“ jest lekkość, powiewność i upojenie, w kostyumach Magdy z „Gniazda rodzinego“ przepych odurzający i efektowna śmiałość. Dla tego kolor i forma sukien dostraja się do barw sytacyjnych i mieni się tak jak losy bohaterki. Artystka nie pyta się, co moda najświeższa przynosi, lecz tworzy modę samodzielnie, nie szuka tualety dla tualety, lecz kostyumu, potęgującego koloryt kreacyi. O ile sobie przypominam to w historycznych ubiorach „lady Macbeth“ ciemne, ponure barwy dominowały wszechwładnie. Była Modrzejewska jak noc, kryjąca zbrodnię w pomroku, i mrokiem gęstym, półzgniłym szaty swoje barwiła. Dopiero w słynnej scenie lunatyzmu i halucynacyi, gdy jak duch pokutny krąży po komnatach zamkowych, stanęła w białym negliżu na scenie. A była cała senna i chwiejna i strachem owiana, — dziwnie, przedziwnie potężna w tej chwili. Na szczęście żaden dziwoląg reżyserski nie odstroił tego momentu, choć po dziwolągach pierwszego i drugiego aktu straciłem już nadzieję, by scena ta, przejmująca swą grozą, najdramatyczniejsza może w całym Szekspirze, ocaleć mogła bez uszczerbku. Po tych wiedźmach, nie mogących zapaść się w ziemię, po tej kurtynie, spadającej przedwcześnie, gdy lady Macbeth odprowadza króla do komnat sypialnych, — byłem już na wszystko przygotowany. Żal mi też było, że nazajutrz skreślono z Mazepy symboliczną scenę z liliami. Jak kwiat lilii czystą, wiotką i poezyi pełną była Modrzejewska, jak lilia złamała się u stóp zazdrosnego starca; radowałem się próżno, że ujrzę ją przy Zbigniewie z kwiatami niewinności w ręku i bolesnym uśmiechem Madonny na ustach.

Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(*Słówko o tańcującej żałobie*).

Szumi Poznań i korkami strzela. Zdawaćby się mogło, że naród święci dziejowe tryumfy i saskie bachanalje wykopał z popiołów. Arystokratyczny Bazar roi się powiewną Terpsychory dziatwą i, gdy mrok ziemię żałobną otuli, pląsa w wirze szalonym garść niedobitków, — „ostatnich Mohikanów“ gromadka. Huczy kapela, kipi szampan w kielichach i bal za balem goni bez wytchnienia. Przepraszam! Książę Karnawał wraz ze świtą swoję wyraz „bal“ wymazał z słownika noworocznego i tańcującą hulankę pełną brylantów, wspaniałych tualet, grzmiących mazurów, musujących butelek i szumek o świcie, niewinną marką „rautu“ przyozdobił. I oto pojawiają się w „Dzienniku Poznańskim“ dziwne anonse. Słuchajcie: „W sobotę 19 b. m. odbędzie się raut na sali bazarowej. Bilet 3 Mr.“ Nic więcej. Żadnych nazwisk pod ogłoszeniem. Kto urządza te bale ochrzcone rautami, na jakie cele, — pozostaje ścisłą tajemnicą, w noc anonimu spowitą. Przypomina to mniej więcej dwujęzyczne ogłoszenia przylepiane nieraz na littfasach: „Dziś zabawa z tańcami „pod śpiącym aniołkiem“ na Górnej Wildzie. — Heute grosses Tanzvergnügen „zum schlafenden Engel“. Oberwilda.“ I kropka. Nie będę szukał wyjaśnienia tej dziwnej w historyi zabaw Bazarowych nowacyi, nie będę rozstrzygał, czy jakiś cichy wyrzut sumienia podyktował tę niezwykłą formę anonsu lub brak cywilnej odwagi nazwiska gospodarzy i gospodyń balowych w kałamarzu uwięził, — wiem tylko, że starsza generacya arystokracyi naszej, — ta wytworna, słynąca z dobrego tonu i taktu patrycyuszów rzesza — zdumionemi oczyma spoglądać musi na „rauty“ nowoczesne i ogłoszenia balowe.

Być może, że w szlachetnym odwecie za uwagi moje rozpuści znów jaka Ewy córa cudowną anegdotkę o rzekomym „pogromie dziennikarskiej inkwizycyi“ i taką legendą, wysnutą z rozbujałej fantazyi a pozbawioną nawet cienia prawdy, brak poważnych kontrargumentów zasłoni, ale uprzedzam, że bronią plotki kłamliwej nikt nam pióra nie wytrąci z ręki. Nie hołdując wygodnej zasadzie puszczania z prądem dziennikarskiej łodzi i zwijania sztandaru za czarodziejskiem zaklęciem względów towarzyskich, raz jeszcze wołam o stłumienie szału balowego, który nie umiarkowane mieszczaństwo poznańskie, lecz karnałowy import ziemian wielkopolskich ogarnął. A prośbę moją w pierwszym rzędzie pod adresem pana Dobrowolskiego wysyłam, bo winowajcą głównym tej wielkiej tragikomedyi, tych niebywałych od lat 10 saturnalji w roku żałoby jest mistrz maskarady, balansujący jak łyżwiarz wytrawny „Dziennik Poznański.“ Jak lis w myśliwskim kociołku uwija się organ poważny, — staje, nasłuchuje, w lewo uderza, to znów w prawo skręca. W każdym artykule „Dziennika“ jest furtka lub drzwi tapetowe. Lisiej zręczności nie znajdziesz tam nigdzie, ale naturę lisią w każdym ustępie „żałobnych“ refleksyi. O ile znam p. *Dobrowolskiego*, to przekonany jestem, że w głębinach duszy nosi on wstręt do Lukullowych igrzysk balowników naszych, bo cokolwiek człowiekowi temu zarzucić można, śmiać on się nie będzie w dniach smutnej rocznicy. Ale starzec ten, dziś już złamany i zgięty, nie ma odwagi stawić hardego czoła opinii publicznej, — opinii akcyonaryuszów i prowincyonalnych możnowładzców. Dziś nie p. Dobrowolski kieruje „Dziennikiem“, lecz ręka „parów i lordów“ poznańskich. Była jedna chwila, w której nasz „europejski“ organ zagrał potępienie tańcującym żałobnikom, — była jedna chwila, w której zabawa maskowa baletmistrza Witkowskiego uległa ostrej krytyce w „Dzienniku Pozn.“, ale gdy zamiast kupieckich młodzików i skromnego nauczyciela tańców huf młodych patrycyuszów rozpoczął pląsy szalone przy strzałach szampańskich butelek, wtedy umilkła satyra i nie odważył się organ ziemiaństwa urągać filarom swoim. Klątwa tańcującym mieszczanom, błogosławieństwo ucztom senatorów! — oto kwintesencya dyplomacyi „Dziennika Poznańskiego“, a obłuda ta jest znamiennym rysem całego organu.

Niechaj mnie nikt nie posądza o tendencyjne nakładanie barw w tej smutnej powieści, bo nie zaśpiewał wprawdzie organ europejski panegiryku na cześć „rautów“ bazarowych, ale ogłosił wielkie rozgrzeszenie i gromką pobudkę balową w korespondencyi krakowskiej, zamieszczonej na pierwszej stronicy pod kreską. Wśród figarowych wiadomostek o hucznych zabawach „pod Baranami“ u Badenich, Popielów i Tyszkiewiczów, wśród kadzideł felietonowych na cześć „pączka wiosennego“ hr. Elżbiety Tarnowskiej i panegiryzmu dla młodego Czartoryskiego, studenta uniwersytetu, „lubiącego myśliwstwo“, znajdujemy tam takie ustępy:

„Lwów, znużony wystawą, odpoczywa na laurach, w Warszawie urzędowa dworska żałoba krępuje prywatne zabawy, w Poznaniu sztucznie przez panią Modrzejewską zaklęte do życia miasto rychło zapewne wróci do zwykłego stanu odrętwienia. Zaczem jeden tylko Kraków gotów ściągać młodzież z całego kraju i zabrzmieć wrzawą zapustną. Cieszy nas to z wielu względów, i dla miasta, które ztąd odnosi nie mało materyalnych korzyści, dla kupców i hotelistów, którym się może uda powetować straty opustoszeniem lat ostatnich spowodowane, dla życia towarzyskiego, zadatku cywilizacyi i ogłady, bez którego marnieją społeczeństwa, nareszcie dla wznowienia Unii horodelskiej, powtórzenia ślubów Jadwigi z Jagiełłą, zacieśnienia węzłów rozbitej, rozdartej ojczyzny, małżeństwami skojarzonemi między przybyszami z różnych stron kraju.

...Dotychczas sejm i łowy odciągają część męzkiego kontygensu i przewaga płci pięknej nadmiernie się znaczy, ale niebawem i młodzież ochocza ściągnie do Krakowa, aby wśród wiosennego zastępu panien wybierać towarzyszki mazura — a bodaj i życia...

...Zresztą na cóż się młodzież zjeżdża? — na to, aby się poznawać wzajemnie, żenić i zakładać coraz to nowe domowe ogniska. A że te ogniska jedyną dziś przystanią i warownią polskiego ducha, jedyną lepszej przyszłości rękojmą, cieszyć nam się raczej i ułatwiać liczniejsze zjazdy należy, których niezawodnym skutkiem będzie niezawodnie powstawanie coraz to nowych rodzin, nowych ogniw w łańcuchu jedności i miłości, opasającym mocą niezłomnych tradycyi i nadziei rozbitą ojczyznę naszę.“

Jak wam się podoba? zapytam z Szekspirem, — a mianowicie ten sos społeczno-patryotyczny, w którym pływa Stańczykowski panegiryzm nadwornego śpiewaka Badenich, Branickich, Zaklików i Tarnowskich. Nie miałbym nic przeciw tej szczypcie figarowej reklamy na szpaltach poważnego „Dziennika Pozn.“, gdyby nie piętno obłudy, przeświecające tu z każdego słowa.

Takiem akompaniamentem wita bale poznańskie ten sam organ „poważny“, który przed kilku zaledwie dniami nawoływał do umiarkowania w zabawie, do żałobnej powagi i oszczędności. A przecież nie chce prawdopodobnie

twierdzić „Dziennik Poznański“, że ta wręcz niezwykła s e r y a balów, urządzanych od dwóch tygodni na poznańskim bruku, te uczty wspaniałe i tualety drogocenne znamionują powagę i żałobną medytacyę.

Huczne pierwociny karnawału naszego to prawdziwe urągowisko w dniach smutnej rocznicy. Jeżeli już koniecznie przed ołtarzem Baccha i Terpsychory modlić się pragniecie, to nie ubierajcież na rany Boskie w cechy w y j ą t k o w e g o wesela żałobnego roku. A na to się istotnie zanosi.

I niechaj nikt nie mówi, że tańcujące miłosierdzie wypełni skarbnicę n a r o d o w y c h instytucyi, bo jeżeli wnioskować wolno z podziału kapitałów, przeznaczonych przez panią Modrzejewską na cele dobroczynne, to pańska ofiarność w innym kierunku zwróciła dziś przeważnie spmpatye swoje. Dla wyjaśnienia sytuacyi przytaczam tu list p. dr. Fr. Chłapowskiego, zamieszczony w „Kuryerze Poznańskim“:

„Otrzymawszy dnia 16 bm. 757,50 mr. jako czysty dochód, przypadający z przedstawienia „Adrienny Lecouvreur“ na cel dobroczynny od mej bratowej (pani Modrzejewskiej), rozdzieliłem fundusz ten w następujący sposób:

Na ręce przełożonej Siostry Ireny *Łuszczewskiej* na szpitalik dziecięcy 200 mr., na Tow. pań św. Wincentego 100 mr.

Na ręce ks. kan. *Pędzińskiego* do rady miejscowej Tow. św. Wincentego à Paulo 100 m.

Na ręce pani Anny z hr. Mielżyńskich hr. *Czarneckiej* dla Tow. Niepok. Poczęcia N. P. Maryi 100 m.

Na ręce przełożonej Siostry Józefy *Mellin* dla zakładu pod Opatrznością i dom sierót 100 m.

Na ręce p. F. *Dobrowolskiego* na pożywienio biednych dzieci 50 m.

Na ręce panny M. *Karłowskiej* na zakład „dobrego Pasterza“ 50 m.

Na ręce pań, składkujących dla Domu św. Elżbiety 30 m.

Resztę oddałem osobom proszącym prywatnym — 27,50 m. Razem 757,50 m.

Dr. Fr. Chłapowski.

A „fundusz Kościuszki“. „Pomoc Nakowa“, „Dom Przemysłowy“, „Czytelnie ludowe“ i wiele innych nie tyle filantropijnych lub kościelnych ile wybitnie narodowych instytucyi czeka naprózno w sierocem osamotnieniu, z pustemi rękami zmiłowania naszego. O! tak! prąd czasu manifestuje się czasem w drobiazgach. „Resztę niech czuły słuchacz w swej duszy dośpiewa.“

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Nowe pismo kobiece. W Berlinie ukazał się pierwszy zeszyt pisma p. t.: „Die Frauenbewegung“ (Ruch kobiecy), którego celem jest popieranie wszelkich spraw kobiet i pilne śledzenie postępów na tem polu. Redaktorstwo objęły panie Mina Cauer i Lily von Gizycki.

* * *

„*Wspomnienia artysty.*“ Illustrowane urywki z pamiętnika. Wydał Leonard Lepszy. Rysunki wykonał Edward Lepszy. Kraków. Księgarnia Spółki wydawniczej polskiej. 1895.

Ładny druk i papier, format przyjemnie wpadający w oko, wytworna oprawa, zgrabne, doskonale odbite illustracye i treść prawie na czasie — bo za tło opowiadania użył autor anegdotyczne dzieje krakowskiej szkoły sztuk pięknych z przed kilkunasty laty — tworzą razem wzięte, całość ponętną i interesującą, zwłaszcza, że pod przejrzystemi imioniskami bohaterów pamiętnika poznać łatwo dobrze ogółowi znanych ludzi realnych i wybitnych, zajmujących wysokie stanowisko w sztuce polskiej lub w życiu społecznem.

* * *

P. W. Czajewski przystąpił do wydawnictwa p. t. „W a r s z a w a i l u s t r o w a n a“. Będzie to książka w 4-ch tomach o 640 kartach druku ze 160 drzeworytami i rysunkami, wykonanemi przez najlepszych rysowników i drzeworytników. Oprócz opisu miasta w „Warszawie ilustrowanej“ będzie umieszczony artykuł o dziennikarstwie warszawskiem z portretami wybitniejszych dziennikarzy i literatów. Nadto będą tu portrety artystów, budowniczych, inżynierów, przemysłowców i t. d.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Prezesem koła polskiego w sejmie pruskim obrany został powtórnie radzca S t a n i s ł a w M o t t y. Poseł ten wygłosił na posiedzeniu środowem dłuższą mowę przy pierwszem czytaniu budżetu i korzystając z tej okazyi scharakteryzował trafnie działalność antipolskiej spółki K. H. T. — Prezesem Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu obrano ks. biskupa Likowskiego, wiceprezesem prof. dr. Wicherkiewicza — Pruskie seminarya nauczycielskie zawiadomiono, że kandydatom kończącym swe studya w r. 1898 przysługuje prawo do jednorocznej służby wojskowej. — W Brooklyn trwa w dalszym ciągu wielki strejk urzędników tramjawych. — Komisya parlamentarna obradująca nad projektem przewrotowym odrzuciła na piątkowem posiedzeniu wniosek o zmianę § 111 prawa karnego. Według paragrafu tego podlega zachęta do przestępstwa karze więziennej aż do 1 roku lub karze pieniężnej do 600 marek. Rząd zamierzał podwyższyć karę maksymalną na trzy lata więzienia, a karę pieniężną znieść zupełnie. Za wnioskiem rządu głosowali zachowawcy, wolnokonserwatywni, narodowoliberalni i r e p r e z e n t a n t p o l s k i.

Teatr i muzyka. Helena Modrzejewska uda się z Poznania na gościnne występy do Kalisza. Towarzyszyć jej będzie jeden z artystów poznańskich. — Władysław Rabski, redaktor pisma naszego, wykończył dramat czteroaktowy p. t. „Z w y c i ę ż o n y“. Dramat ten osnuty jest na tle stosunków poznańskich. — Wincenty Rapacki (syn) napisał jednoaktówkę p. t. „Plama.“ Utwór ten zaczerpnięty z życia artystycznego Warszawy ukaże się prawdopodobnie w jednem z czasopism poznańskich. — Henryk Boito pisze operę „Neron.“ — W teatrze łódzkim wystawiono „Przeklęty dorobek“ Kosiakiewicza. — Znany publiczności poznańskiej. Rudolf Bernhardt, barytonista, wystąpił w Teatrze Wielkim w Warszawie w roli Miecznika z „Strasznego dworu.“ Krytyka wyraża się pochlebnie o występach utalentowanego śpiewaka. — Operetka Andrana „Konik polny i Mrówka“ święci w Warszawie prawdziwe tryumfy. — Panna Marcello wystąpiła po raz pierwszy na warszawskiej scenie w roli Amelii (Mazepa) Krytyka wyraża się nader ujemnie o grze artystki. — We Lwowie odbyło się jubileuszowe przedstawienie ku uczczeniu pamięci Wojciecha Bogusławskiego. Spektakl zapoczątkowano pięknym prologiem Jana Kasprowicza, wygłoszonym przez p. Romana Żelazowskiego. Następnie odegrano „Krakowiaków i Górali“ Teatr świecił pustkami.

Zjazdy i kongresy. Zjazd historyków niemieckich odbędzie się 18, 19 i 26 kwietnia r. b. w Frankfurcie n. M.

— *Legendy o zapamiętałych tancownikach.* Ostatni numer „Wisły“ zawiera wiele ciekawych przyczynków do etnologii ludowej, a między innymi legendy zapustne.

„Był owczarek w Mogilnie — opowiada baśń pierwsza — który miał flet zaczarowany. Kto głos jego usłyszał, musiał tańcować. Ksiądz nie wierzył pogłosce. poszedł do owczarka i kazał sobie zagrać. Chłopiec zagrał, a ksiądz musiał się na śmierć zatańcować.“

„Kilka dziewcząt w Kiekszu — mówi baśń druga — prało w niedzielę. Nie były w kościele, tylko poszły na tańce. Za karę musiały ciągle tańczyć (do końca życia).“

„W powiecie żnińskim — twierdzi trzecia — przy dworze z Popowa do Gącza, jest staw bagnisty. Stała tam niegdyś karczma, w której było zawsze dużo pijanych. Raz wszedł ubogi, prosząc o wsparcie, ale wyrzucono go za drzwi. Wtedy powiedział: „Naswawoliliście się już dosyć, teraz będziecie za karę tańczyli, dopóki sobie nóg nie zedrzecie“. Ubogim był sam Bóg. Swawolnicy tańczyli tak, że aż krew z nóg im popłynęła, potem karczma zapadła się i staw pokrył jej miejsce.“

Zwłaszcza ta ostatnia legenda jest bardzo pomysłowa i wymowna. Bo czyż to nie oryginalna kara kazać bezmyślnym grzesznikom zatańczyć się na śmierć! Krew im z nóg płynie, ciało ściera się, chcieliby odpocząć — nie! — tańczcie robaczki dopóki ducha nie wyzioniecie. Taką wszakże przestrogą nie możnaby dziś oddziałać na zapamiętałych w żadnej karczmie, gdyż niktby w nią nie uwierzył. A jednak niesłusznie. W baśniach bowiem tego rodzaju zmyślonym jest tylko fakt, zresztą wszystko prawdziwe. Tylko fakt — bagatela! — zawoła ktoś z uśmiechem. Za pozwoleniem: czy Ikar istniał i miał woskowe skrzydła. które mu w słońcu stopniały? Nie. Czy Syzyf istniał i wtaczał pod górę kamień, który mu się ciągle osuwał na dół? Także nie. Czy Prometeusz istniał i był przykuty do skały przez Zeusa? Nie. A przecież mity te powtarzamy ustawicznie, wierzymy w ich mądrość, pomimo, że nieprawdą jest w nich tylko — sam fakt. Czemuż więc nie mielibyśmy cenić legendy o pijakach karczmy żnińskiej, którzy za swawolę z rozkazu Boga zatańczyli się na śmierć? Kto podziela te uwagi, ten przyzna, że ntetylko zabobon tkwi w następującej (czwartej) opowieści „Wisły“

„Pod Liszkowem był przed laty zamek nad strumykiem. Pan zamku był nielitościwy dla poddanych i pędził dni na swawoli i rozpuście. Kara boża dosięgła go wszakże i zamek zapadł się w ziemię przy piorunach i błyskawicach. Rzeka rozlała się w jezioro, a park rozrósł się w lasek prześliczny. O godzinie 9 wieczorem dawni mieszkańcy zamku wychodzą i tańczą do północy. Każdego też przechodnia zmuszają do tańców.“

Dante tyle wymyślił najrozmaitszych kar dla pokutników swego poematu — a ta bardzo pomysłowa nie przyszła mu do głowy. Z pewnością, gdyby o niej usłyszał od naszego ludu, byłby ją zużytkował dla odpowiedniej grupy — tych, co nawet Boga znieważą, żeby im nie przeszkadzał tańczyć.

P. Pr.

Z m a r l i:

Lord Randolph Churchill, słynny parlamentaryusz angielski, zm. przed kilku dniami.

Raul Toché, popularny komedyopisarz i dowcipny feljetonista francuzki, zastrzelił się w parku w Chantilly.

BIBLIOGRAFJA.

Anatol Krzyżanowski. Za cudze winy. Lwów 1895. Cena 5 mr.

Henryk Olechowicz Stecki. Wspomnienia mojej młodości. Lwów 1895. Cena 2,40 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Bies z Poznania. Życzeniu pańskiemu stanie się zadość. A może raczyłby Pan samodzielnie napisać w kwestyi wiadomej artykuł. Prosimy pofatygować się do redakcyi.

E. N. Cenimy patryotyzm i zapal młodzieży, ale odezwy nadesłancj ze względu na jej formę i bezimienność zamieścić nie możemy. Przekonaliśmy się, że anonimowe proklamacye chybiają celu i przeciwnikom broń skuteczną podają. „Bezimienność“ tę stronnictwo Stańczykowskie wytacza stale jako zarzut poważny.

S. K. Wyczerpujące uwzględnienie życzenia Pańskiego byłoby dla nas nadto uciążliwem. Racz Szan. Pan zgłosić się do p Estreichera w Krakowie.

Składki.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

P. Maliński z Konarj	13,00 mr.
I. Kollat z Miejskiej Górki, uradowany szczęśliwym reznltatem swego pośrednictwa	3,00 „
Zakład przegrany o wyrazy „Puch marny“	1,00 „
Razem	17,00 mr.

O dalsze składki prosimy gorąco, przypominając również usilnie czytelnikom naszym **fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim**.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 5. Poznań, Niedziela 3go Lutego 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ

„La politique royale.“

Z powodu urodzin cesarskich zamieścił „*Kuryer Poznański*“ artykuł, przewyższający wszystko, co warsztaty lojalizmu naszego dotychczas na świat wydały. Cytujemy go *in extenso*, aby czytelnicy nasi nie uronili ani słowa z charakterystycznego dokumentu i zrozumieli dokładnie uwagi, które następnie poświęcimy Kuryerowej polityce. Artykuł p. t. „*W dniu urodzin cesarza*“ brzmi:

„Dojrzałem jest społeczeństwo i naród, które umieją szanować władzę. My twierdzimy, że mimo licznych wybryków, jakie się wszędzie zdarzają, społeczeństwo nasze pochlubić się może pewnikiem, że uznało potrzebę szanowania władzy, a zatem dojrzałością polityczną poszczycić się może. Wyraz poszanowania tego objawia się na zewnątrz w najróżniejszych formach. Dziś nam wypada zaznaczyć tę, która znajduje wyraz w czci najwyższego reprezentanta władzy świeckiej t. j. miłościwie nam panującego króla i cesarza.

Obchodzimy dziś wraz z całem państwem urodziny cesarza Wilhelma II. Nie naszą rzeczą sądzić jego czyny, dzieła, zamiary, wolę i uczucia. Historya to sądzi. My jako czcimy w nim reprezentanta najwyższej władzy świeckiej, z woli Boga ustanowionej, tak znieworleni jesteśmy z woli najlepszej niczem nie zaćmionej, złożyć u stóp jego tronu najszczersze życzenia lojalnych poddanych, którzy bez fałszu i udawania wszelakiego, bo z Bożej myśli muszą mieć zaufanie do pomazańca Bożego. Wszystko inne złudne jest na świecie, dla tego my wierzymy wyłącznie w Boże powołanie monarchy, twierdzimy zawsze i dziś, w dzień tak uroczysty, że bramy piekieł takiego powołania skrzywić i spaczyć na trwałe nie potrafią. Źli ludzie, ogołoceni z ciepła promieni Bożej łaski, mogą nami do czasu poniewierać, mogą usilnie pragnąć, żeby wola monarchy stała się stronniczą, dokuczliwą dla słabych. mogą zachodzić okoliczności, w których tryumf złych ludzi zdawałby się być bliskim i niewątpliwym, a jednak tryumf ten rozbić się musi o Boże powołanie monarchy i owo poczucie sprawiedliwości, które właściwem być może tylko tym, co najwyższe jej w swym ręku dzierżą szale.

Jakkolwiek więc dziś chmurne nastały czasy, czasy w których złość i niegodziwość ludzka, a nienawiść narodowa i rasowa pragnie zagłuszyć wszelkie sprawiedliwości i słuszności uczucia w narodzie, który nam przez najgorszych synów swych zaprzysięga zagładę, my w spokoju chrześcijańskich męczenników, jak się lojalnie bronimy, tak i przy nadarzonej sposobności tem lojalniej wygłaszamy cześć dla władzy, której prawowitość uznajemy.

Nie ziściły się nadzieje nasze, że już w tym roku jako równouprawnieni członkowie państwa będziemy mogli tem radośniej obchodzić urodziny naszego Monarchy. Znosimy z pokorą dopuszczenie Boże, przez piekielną zazdrość w karze za grzechy nasze nam zgotowane, ale dla tego nic nas nie zepchnie z drogi dojrzałości politycznej, która czcić nam każe władzę przez Boga nadaną.

Z tej zasady, choć niepoznani i upośledzeni do czasu, przyłączamy się bez niewłaściwego w naszem położeniu wesela, ale szczerze, w cichości duszy, ufnej w Boże wyroki, do zastępów tych, którzy dziś wznoszą okrzyki uroczystościowe na cześć Monarchy.“

Czy artykuł powyższy nadesłano z „*arcypoważnego*“ źródła, rozstrzygać nie możemy, styl jednak, ton i forma pozwalają z pewnem prawdopodobieństwem wyciągać wnioski dotyczące charakteru autora, rodzaju jego zajęcia i sfery umysłowej, wśród której żyje. Domyślności czytelników naszych pozostawiamy zbadanie tej interesującej kwestyi, a my stwierdzamy jedynie fakt, że artykuł p. t. „W dzień urodzin cesarza“, zamieszczony w piśmie ultraklerykalnem, piśmie służącem nie tyle religii, ile specyalnym interesom Kościoła, piśmie upatrującem pierwszą ojczyznę w Rzymie, a drugą dopiero w Polsce, jest poniekąd apoteozą owego historycznego momentu, który stanowi porażkę wielkiej idei watykańskiej, wyciskającej piętno niezatarte na całym okresie średniowiecznych dziejów. Rzeczywista zasada supremacyi królewskiej z dewizą „bożej łaski“ na czole, zasada monarszego absolutu, zawisłego od Boga jedynie i jemu jednemu zdającego sprawę z swych czynów, zasada tronowego bożyszcza streszczająca się w historycznem zdaniu: *Le roi ne se trompe pas*“ — obcą była epoce całych wieków średnich. „Pomazańca bożego“ upatrywały czasy owe jedynie w papieżu, a chociaż buntowały się duchy śmiałe przeciw absolutyzmowi watykanu, to Hildebrandowska teorya o „słońcu — papieżu i księżycach — królach“ długo wśród burz politycznych stała niezachwiana. Dopiero grom reformacyi podziałał przełomowo i wielkiego wywrotu w życiu Europy dokonał. Liczba „pomazańców bożych“ się mnoży, trony wyrastają do potęgi niezawisłych absolutów, idea „z łaski bożej“ wyłania się w blaskach potężnych z westfalskich punktacyi i jaśnieć poczyna w coraz szerszym rozwoju na tronach królewskich i książęcych. Zwrot ten, który w takim Henryku VIII znalazł wyraz jaskrawy i dźwignią charakterystyczną, potęguje się z jednego lat dziesiątka na drugi i w okresie „oświeconego despotyzmu“ szczytu swojego dosięga. Zwrot ten, któremu dziś bawochwalczą ofiarę składa pośrednio klerykalny „Kuryer Poznański“, jest dziełem reformacyi, dziełem *protestantyzmu*.

Z końcem XVIII wieku blednąć zaczyna aureola bóstwa na tronie. Europa wstępuje w znak konstytucyi i wśród zgrzytów gilotyny „król z bożej łaski“ ginie, a z krwią przesiąkniętej ziemi wyrasta tron nowy — „tron z ludu łaski“

W pierwszej połowie XIX stulecia zamienia się cała Europa w wulkan rewolucyjny, a każde wstrząśnienie nieomal to nowa klęska „pomazańców bożych“, nowe zwycięstwo idei konstytucyjnej. Król, jako najwyższy urzędnik ludu, zstępuje w niziny zwykłych śmiertelników, nadprzyrodzone blaski potęgi jego gasną i w dym się rozwiewa dumne słowo despoty: „*L'état c'est moi*“.

Zdawaćby się mogło, że prąd ten nowy właśnie w naszem społeczeństwie, wykarmionem tradycyami elekcyi i republiki, znajdzie grunt przygotowany, — zdawaćby się mogło, że my Polacy w obecnem położeniu wahać się nie możemy, w którą stronę zwrócić sympatye swoje. — czy tam, gdzie walczą o coraz większą swobodę ludu, o rozwój zasad humanitarnych, o decentralizacyą władzy, czy też tam, gdzie z desperacyą straceńców bronią starych przywilejów i autokracyi tronowych jednostek, — a przecież „są rzeczy na niebie i ziemi, o których się mędrcom nie śniło“, które jednak „Kuryer Poznański“ odsłonił. W ubiegłym tygodniu poświęciliśmy obszerny artykuł fundamentom polityki naszej, a w artykule tym znajdą czytelnicy odpowiedź, gdzie logika szukać nakazuje sprzymierzeńców polskich. „Wszelkie dążenia, mające na celu wywalczenie wolności dla szerszych mas, sprzyjają naszym interesom, gdyż otwierają i nam możność korzystania ze swobód ogólnych“

„...Dla nas naturalnymi sprzymierzeńcami w każdym narodzie są te stronnictwa, których wolności i potęgę walczą, gdyż pracując dla ogólnego dobra, i nasze także popierają interesy“. Oto słowa, rzucone społeczeństwu przed kilku dniami, — słowa, które dziś prezentujemy z całym naciskiem reakcyjnym politykom „Kuryera Pozn.“. Jest w nich odpowiedź na dyplomacyę wstecznictwa święcącą orgje prawdziwe na gruncie poznańskim i galicyjskim, — jest w nich protest energiczny przeciw monarchicznemu bałwochwalstwu, którem organ klerykalny wita dzień urodzin cesarskich. My nie potępiamy objawów szacunku i sympatyi dla monarchy, jeżeli z wyżyn królewskich tryska prąd humanitarny i orzeźwiającem tchnieniem miłości ogarnia wydziedziczonych, ale rzucamy rękawicę by-

zantyńskiemu obłąkaniu, które tron do wyżyn bóstwa wynosi, a mianowicie w naszych stosunkach wywierać musi wrażenie kompromitującej farsy politycznej, farbować rumieńcem swobodnych i prawa zdobyte miłujących obywateli, a wreszcie niszczyć w szerokich tłumach poczucie narodowej odrębności, bez którego nie ma życia, jest tylko wegetacya. W „Kuryerze Pozn.“ monarchiczny dewotyzm przeszedł w szał chorobliwy, w manję tak drastyczną, że podobnej nie było jeszcze na poznańskim gruncie. Dowiadujemy się, że Polacy „z Bożej myśli muszą mieć zaufanie do pomazańca bożego“, — że wierzą *wyłącznie* w Boże powołanie monarchy“, którego *„bramy piekielne skrzywić i spaczyć na trwałe nie potrafią“*, — że *„tryumf złych ludzi rozbić się musi o poczucie sprawiedliwości, które właściwem być może* **tylko** *tym, co najwyższe jej w swym ręku dzierża szale“*. Nie przypuszczamy, aby autor powyższych nonsensów zastanowił się nad konsekwencyami tej charakterystyki monarszych przymiotów, bo zawiera ona rozgrzeszenie wszystkich niesprawiedliwości królewskich i apoteozę gwałtów historycznych. Jeżeli na tronowych szczytach jest „boże powołanie“, jeżeli bramy piekieł skrzywić go nie potrafią, jeżeli tryumf złych ludzi o nie się rozbija, a poczucie sprawiedliwości właściwem jest „tylko“ królom, natenczas Ludwik XI lub Iwan Groźny byli z natchnienia bożego wcieleniem najwyższej sprawiedliwości, — natenczas rządy cudzołożnic za czasów Ludwika XIV, skreślenie Polski z rzędu państw europejskich, dręczenie narodu naszego pod rosyjskiem berłem i tysiące innych gwałtów tronowych zyskują znamiona cnoty archanielskiej. A jeżeli to wszystko było tylko przelotnym „tryumfem“ złych ludzi — królewskich doradzców, to czemuż tryumf ten nie rozbił się o boże powołanie monarchy, którego „bramy piekieł na trwałe skrzywić nie potrafią?“ Do takich absurdów posunął się „Kuryer Poznański“; — jest to obłąkanie, które już nie gniew, lecz litość najgłębszą obudza.

Oprócz scharakteryzowanego wybryku zboczeń umysłowych, znajduje się w „powinszowaniu“ „Kuryera Pozn.“ jeszcze tendencya innej natury, a mianowicie gwałtowne wciskanie sprawy polskiej między tron i naród, przeciwstawienie Niemcom niemieckiego monarchy, jednem słowem jakieś mętne *„divide et impera“*, z którego my Polacy bić mamy poważny kapitał. Już „Orędownik“ określił trafnie całą impotencyę podobnej dyplomacyi, zapoznającej zupełnie stosunki państwa konstytucyjnego i strojącej tron w takie blaski absolutnej potęgi, które ustrój parlamentarny zagasił od dawna. Jest to nowy dowód krótkowidztwa lojaznu naszego lub wręcz polityka zrozpaczonego bankruta, który nie oblicza, nie rozważa, nie analizuje, lecz łódź puszcza z wiatrem na oślep: Niech płynie! W monarchii pruskiej nie król, lecz reprezentanci ludu są rozstrzygającą władzą i dla tego opieranie całej dyplomacyi na wątpliwych sympatyach cesarza oraz sztuczne wysuwanie monarchy przeciw narodowi jest polityczną utopią. A gdyby nawet wola królewska do posłuszeństwa zmusić mogła przedstawicieli narodu, to gdzież dowód, że między opinią tronu a opinią ludu istnieje przepaść głęboka, gdzież prawdopodobieństwo, że dla zjednania sympatyi polskich poświęci Wilhelm II sympatye niemieckie! To szał i obłąkanie, ale *„ist es auch Wahnsinn, so ist doch Methode drin“*.



POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego.

W obec elastyczności nowej ustawy przewrotowej, wniesionej w parlamencie niemieckim, zamieszcza *„Gazeta Grudziądzka“* (Nr. 10) następującą przestrogę:

„Około roku 1880 przyjęto w pruskiej izbie poselskiej nowelę do ordynacyi procederowej, mającą za cel położenie tamy szerzeniu przez kolporterów niemoralnej i nieobyczajnej literatury (Schundliteratur) pomiędzy ludem.

Nowela ta przyjętą została głosami Polaków, których zapewniono uroczyście z ławy ministrów, że z książek przeznaczonych do handlu obnośnego usuwać się będzie jedynie to, co się przyczynia do nieobyczajności i zepsucia zmysłowego. Zaręczano i sumitowano się, że z noweli żadnego innego użytku, a tem mniej nadużycia nie będzie. Tymczasem co się stało wbrew wszelkim zaręczeniom?

Przedewszystkiem zabrano się do książek polskich do nabożeństwa i obcinano w nich nielitościwie to, co przez długie lata podnosiło ducha pobożnych czytelników.

Z litanii do Matki Boskiej odrzucono wezwanie: Królowo korony polskiej módl się za nami;

Z pieśni do świętej Rozalii wykreślono wiersz: „Ratowałaś Sycylią,

„Ratujże i Polonią.“

Wyrzucono z książki do nabożeństwa arcybiskupa Dunina modlitwę „Za Ojczyznę“, również pieśń o św. Stanislawie, „patronie Pelski“ i modlitwę do św. naszych patronów. W niektórych pozwalano sobie na bardzo niefortunne przeróbki np. w pieśni do św. Mikołaja zamiast „wielkiemu ludowi“ (polskiemu) napisano „wszelkiemu ludowi“. „Wzywa cię polska korona“ zmieniono na „wzywa cię każda świata strona“ i t. d.. i t. d.

Polacy, którzy w dobrej wierze głosowali za nowelą, polegając na zaręczeniu ministrów, doczekali się ohydnego zastosowania tego prawa... ku zatraceniu patronów swego kraju i detronizacyi Królowej Polski.“

Rywalizujący w lojaliźmie z „Kuryerem Poznańskim“ „Dziennik Kujawski“ pisze w numerze 21:

Rada „Dziennika Pozn.“, aby nie brać udziału w obiadach na cześć cesarza, jeżeli do biesiadujących należą członkowie KHT, jest nietylko niefortunną, ale nawet wprost dla nas [illegible] że na 50 uczestników jest 10 Polaków i 30 Niemców, a pomiędzy nimi znajduje się 2 KHT. Podług rady „Dziennika Pozn.“ powinni Polacy dla tych dwóch Kennemanczyków ustąpić. Jakiż ztąd skutek? Oto landrat zda o tem raport do wyższej władzy, a usłużne osoby nie omieszkają uwiadomić o tem cesarza. Przecież nie jest to tajemnicą, że numery „Kujawischer Bote“ które wymyślały na Polaków, przesłano także do kancelaryi cesarskiej. Zaszkodzimy zatem sami sobie, a spółka KHT śmiać się będzie. Papier jest cierpliwy, ale z tego nie wynika, aby wszystko na nim drukować. Zresztą przymusu do udziału w obiadach nie ma, kto zatem chce, niech idzie na obiad, ale nie należy zachęcać ogółu do czegoś podobnego. Wogóle sądzimy, że dla osoby cesarza należy zawsze zachować szacunek.

Do *„Gazety Toruńskiej“*, nawołującej Polaków, aby nie abonowali grudziądzkiego „Geselligera“, osławionego organu K. H. T., pisze jeden z przemysłowców polskich:

„Jeżeli chodzi o wytrącenie głównego organu KHT, sławetnego „Ges.“ z rąk Polaków, to na to jeden jest tylko sposób. Oto trzeba się starać, aby choć jedno z pism naszych mogło skutecznie z „Ges.“ współzawodniczyć i pod względem informacyjnym zupełnie go zastąpić. Jeden z naszych czytelników, gorliwy Polak i katolik, pisał nam tak: „Chcecie z domów polskich wyrzucić „Ges.“, to stwórzcie dziennik, któryby tak samo, jak on, codziennie podawał wyczerpujące telegramy polityczne, któryby tak samo jak on pomieszczał codziennie liczne a treściwe korespondencye z całej prowincyi. Zakładanie pisemek, które nawet wiadomości o sprawach polskich po części podają w kilka dni po „Ges.“, pismu temu nie zaszkodzi, lecz raczej wychodzi mu na korzyść, osłabiając starsze pisma i utrudniając im tem samem współzawodnictwo z „Ges.“. Prenumeruję wszystkie bez wyjątku zachodnio-pruskie i niektóre inne pisma polskie ale bez owego nader wstrętnego mi organu, niestety, jako przemysłowiec obyć się nie mogę. Starajcie się Panowie zastąpić ten organ. Gdy tego dzieła dokonacie, oddacie rzetelną przysługę społeczeństwu a Polacy „Ges.“ prenumerować nie będą.“

Sprawa rozwiązanego towarzystwa „Oświata“ w Lipinach na Górnym Szląsku staje się coraz głośniejszą, dzięki tamtejszemu proboszczowi Ronczce, który nietylko, że spowodował zamknięcie polskiego towarzystwa, ale obecnie po dokonanem zamknięciu ściga je zaciecie po gazetach. *„Katolik“* kilkakrotnie już ujął się za „Oświatą“, a w nr. 12 poświęca całemu zdarzeniu obszerny artykuł, wykazujący bezprawie policyjnego rozporządzenia i udzielający nauczki ks. Ronczce, jednemu z najgorliwszych germanizatorów na Szlązku.

Rejencya opolska przysłała do wydawnictwa *„Gazety Opolskiej“* formularz do wypełnienia. W formularzu mieszczą się zapytania, kto jest wydawcą, głównym redaktorem, drukarzem „Gazety“ i ile takowa ma abonentów. Chodzi tu może o stwierdzenie rozwoju oświaty ojczystej wśród ludu polskiego na Górnym Szląsku.

„Gazeta Grudziądzka“ pisze w nr. 13:

FRANCISZEK RAWITA.

ANDZIA.

NOWELA.

I.

Janek urodził się pod szczęśliwą gwiazdą — dwakroć szczęśliwą: raz — że był pięknym jasnookim chłopcem, a drugi — że go rodzice Jankiem nazwali. Kiedy przechodził ulicą, w płaszczu, zarzuconym fantastycznie na ramiona — a paradować musiał kilka razy dziennie przez Nowy-Świat do uniwersytetu, gdyż mieszkał na Aleksandryi — wszystkie panienki zwracały ku niemu ciekawe i sympatyczne spojrzenia. Był to słuszny, kształtny chłopiec, jak topola, o ślicznej, pociągłej twarzy, rumianych policzkach, falistych kędziorach, które jak zwoje jedwabiu wysuwały się gwałtem z pod czapki, mieniły się jak złoto do słońca i wieczną wojnę toczyły z wietrzykiem. Dorastające, a nawet już dorosłe panienki wiedziały, że się nazywa Jankiem, że kończy filozofię i — pisze wiersze. Nie mogły mu przebaczyć nudnej łaciny i greki, ale poezya była łaskawym i pobłażliwym pośrednikiem i przewodnikiem spojrzeń, wpadających wprost w oczy Janka. Imię jego, wśród rozmaitych emblematów i kwiatków, wypisywały na kajetach pensyonarki wyższych klas co najmniej trzech pensyonatów w Warszawie, a przyłapane przez swoje nauczycielki lub przełożone tłómaczyły się odważnie, że to imię brata, kuzynka lub nawet tatka. Dwa razy do roku opanowywała je formalna epidemia bazgrania po kajetach — w czasie karnawału i w maju, ale trudno było temu zaradzić! Nieraz śród dyktanda, śród niewielkiej pauzy, nagle pióro zaczęło się samo poruszać i na marginesie zjawiał się nie dyktowany wcale wyraz — Janek. Takie to już miał szczęście ten chłopiec.

Ale — patrzyły na niego oczy inne także.

Raz wieczorem, już około godziny dziewiątej, w same zapusty, wbiegł do jego mieszkania kolega Zyzio, Zyzio — i tyle. Mało kto znał jego nazwisko, ale imię znali wszyscy koledzy. Żadnych przymiotów osobistych nie posiadał — oprócz młodości. Wleciawszy do pokoju jak huragan, od razu do Janka się zwrócił:

— Idziesz dzisiaj na maskaradę?

— Nie.

— Chodź.

— Fraka nie mam.

Zyzio cmoknął i palcami klasnął, wyrażając w ten sposób niezadowolenie.

— Głupia sprawa — dodał.

Chwilkę obaj milczeli.

— Wiesz co — odezwał się Zyzio — frak i... resztę możesz pożyczyć u Aronka... tylko co przechodziłem koło niego i widziałem w oknie zachęcający napis: „fraki do wynajęcia.“

— Wszakże to bardzo pięknie, ale... ba...

Przy tych słowach Janek do kieszeni sięgnął, sakiewkę skórzaną wydobył, otworzył, zbliżywszy się jednym susem do stołu, wszystko co było w niej wysypał.

— Poczekaj... obliczmy się...

Zaczął liczyć. Były to same drobne pieniążki — złotówki, czterdziestówki, grube miedziane dziesiątki i nieco kopiejek. Liczyli razem, a potem Janek dodał wszystko i rzekł doś kwaśno:

— Dwa ruble i dwadzieścia groszy...

— Doskonale! Tyle właśnie ile potrzeba: rubel bilet, rubel frak, dwadzieścia groszy

Warte zastanowienia! Niemieckie towarzystwa dobroczynności zajmują się, jak to widzimy z przekładu „Reichsfechtschule“, agitacyą na cele narodowe, przeznacząjąc pewną część dochodów, jakie w skutek tej agitacyi wpłyną na własne właściwe cele. Czyżby nasze towarzystwa dobroczynne nie mogły zająć się również zbieraniem składek w ten sposób, że jedna trzecia zebranych funduszy przypadałaby na cele dobroczynne, a dwie trzecie na narodowe n. p. „na Wawel“, albo „fundusz Kościuszki.“ Niejeden chętnie daje na cele dobroczynne, inny na narodowe — ale dając na wyżej wymienione cele, połączyłby jedno z drugiem — Bogu na chwałę i ludziom na pożytek!

„*Orędownik*“ zamieszcza w nr. 20 następujący artykuł:

„Gaz. Gdańska“, znany organ partyi dworskiej, choć się tego zawsze solennie wypiera, że tylko broni „zgody i solidarności“, wypowiada szczególniejsze zdanie o potrzebie publikowania treści obrad Kół polskich. Wszystko na to, żeby tylko poczciwych Zachodnioprusaków partya dworska wodziła jak najdłużej na pasku.

Pisze, że potrzeba referowania o tych naradach powstała na bruku poznańskim, jest więc lokalną, (?) nie ogólną (!). To dopiero wytrawny publicysta. Ostrzega więc przed tem, bo to mogłoby nam szkodę przynieść. Czy zbyt „jawna“ polityka nasza nie sprowadziła na nas dość klęsk? — zapytuje. Radzi więc tylko to publikować, co posłowie będą chcieli. — jak było dotąd!

Dotąd było tak, że p. Kościelski z swymi intimusami wyłowili ryby w mętnej wodzie tajnych obrad Kół polskich, a jak się samodzielni wyborcy na tem poznali, to zaczął ich z swymi kolegami po duchu wyzywać i to grubo we wszystkich swych organach, — także w „Gaz. Gdańskiej“ dopóki nie musiał kończyć na żydowskich interwiewach.

A „Gazeta Gdańska“ życzy sobie, żeby było, jak bywało.

Cała ta sprawa, o której pierwszy „Kuryer“ doniósł, że nad nią Koło sejmowe obraduje, pozostanie póty czczym przedmiotem, dopóki do Kół poselskich nie dostanie się więcej tak samodzielnych charakterów, jak poseł dr. Krzymiński, dopiero, gdy ci przyjdą w sukurs dodatnim elementom w Kołach naszych, doczekamy się publikowania obrad Kół polskich. Rychlej nie!

W numerze 22 „*Orędownika*“ czytamy:

Towarzystwa nasze, jakkolwiek mają najlepsze tendencye, same o własnych siłach prawdziwego życia w łonie Towarzystwa wzbudzić nie mogą, nie mając żadnych podręczników, któreby jako wskazówki służyły. Przed kilku laty było u nas w. Księstwie kilka gazet z kolei specyalnie sprawom przemysłowym oddanych, jak n. p. „Tygodnik Przemysłowy“, „Trud“, te upadły, być może dla braku abonentów, być też może, że Towarzystwa nasze, nie widząc zagrożonego swego bytu, sprawami przemysłowemi się mało zajmowały i tak wielce w naszem społeczeństwie polskiem potrzebnego pisma nie poparły. Czas nas uczy; w ostatnich kilku latach widzimy nowe prądy, uderzające na nasz przemysł, i dziś byłoby na miejscu nad tem pomyśleć.

Gazet omawiających sprawy polityczne mamy dość dużo, należałoby nad tem pomyśleć, ażeby w obecnych, dla przemysłowca polskiego zagrożonych czasach, wydawać pismo specyalne dla spraw przemysłowych, coś na wzór „Gazety rzemieślniczej“ warszawskiej, która dla naszych towarzystw nie odpowiada ponieważ nieomal trzy czwarte swych łamów zapełnia sprawami i cechami Królestwa Polskiego, a te nas mało obchodzą.

„*Postęp*“ wywdzięczając się czasopismom klerykalno-konserwatywnym za bezustanne zarzuty hołdowania socyalistycznym i antireligijnym tendencyom, tak polemizuje z „Dziennikiem Pozn.“.

„S o c y a l i s t a ?“ „Dziennik“ wczorajszy zaczepił w nieładny sposób Najprzewielebniejszego Arcybiskupa warszawskiego ks. Popiela. Nazwał ks. Arcybiskupa zwyczajnie sobie Popielem bez tytułu Arcybiskupa, a nawet bez tytułu księdza, jakby sobie ten dostojnik kościelny był dziennikowym kompanem. Pisze dalej, że ks. Arcybiskupa chciano z pewnego domu wyprosić, bo nieproszony przyszedł na biad. Przedstawia ks. arcybiskupa jako pieczeniarza i darmozjazda. Co za nierozum! Metropolita nieproszony będzie chodził po mieście i wąchał, gdzie są wystawne i smaczne obiady? Takie brednie wolno dworakom pisać, bo oni mają tylko patent na „dobrych“ katolików. Innych toby za to do inkwizycyi oddano, gdyby się dało naturalnie.

W sprawie znanego procesu ks. arcybiskupa Stablewskiego przeciw „Postępowi“ pisze „*Orędownik*“ w nr. 23:

Proces ks. Arcybiskupa przeciw „Postępowi“ w znanej sprawie toczył się wczoraj przed poznańską izbą karną i zakończył się zasądzeniem „Postępu“ na 40 marek kary.

Tak nizką karę uważał sąd za stosowne zawyrokować zapewne dla tego, że świadkami stwierdzono, iż w uroczystość Wszystkich świętych rzeczywiście w katedrze podczas nabożeństwa pracowano.

Ze względu na wysokie stanowisko i dostojeństwo kościelnej strony skarżącej wstrzymujemy się od wszelkich uwag, o ileby one właśnie tej strony dotyczyły — z powodu każdemu zrozumiałych.

Z innej strony i ze strony „Kuryera“ postarano się jednak o to, aby temu procesowi nadać znaczenie sprawy, której milczeniem w żaden sposób zbywać nie można. „Kuryer“ materyą procesu przedstawił tak, jak gdyby chodziło — o walkę przeciw naszemu duchowieństwu, przeciw Kościołowi i dogmatom! Z nienawiści politycznej do „Postępu“, pisma — dzięki Bogu — do dziś na wskroś katolickiego — wyzyskał święte rzeczy. Już w swoim czasie zwróciliśmy uwagę na niestosowność tych lekkomyślnych zarzutów.

Takie wyzyskiwanie rzeczy świętych dla interesów świeckich, politycznych i stronniczych jest rzeczą w naszych stosunkach bardzo niebezpieczną. Dzisiaj nie będziemy wskazywali na rozmiary tego niebezpieczeństwa, ale nasze duchowieństwo, mianowicie to, które wśród wstrząsnień i niespodzianek, jakie społeczeństwo nasze przechodzi od lat 4, zachowało jasny i spokojny umysł, niech zawczasu myśli, żeby z tego, co się u n s dzieje, nie było szkody dla Kościoła i narodu, bo szkoda może nastąpić także z tego, gdy duchowieństwo w czasach tych ciężkich prób, jakie przechodzimy, zaniecha czynić tego, coby uczynić należało.

Że artykuł „Kuryera“, o którym mowa, kwalifikuje się na to, żeby o nim zareferować ks. kard. Rampolli, to przecież powinnoby duchowieństwo nasze uznać.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Stosunkowi Bułgaryi do Rosyi poświęcają „*Nowoje Wremia*“ artykuł następujący:

„Książę Ferdynand myśli, że w Petersburgu zawiał dziś dla niego wiatr pomyślniejszy. Sądzi on, że Rosya tylko czeka na krok pierwszy, zrobiony ze strony Bułgaryi, aby wszystko, co było, puścić w niepamięć i wróci Bułgaryi zaufanie. W tych dniach przybył do Sredca pensyonowany pułkownik bułgarski Kesjakow, znany w Petersburgu ze swych sympatyi rusofilskich, Rząd bułgarski przyrzekł mu znaczniejsze wsparcie z funduszu dyspozycyjnego, jeżeli pojedzie do Petersburga, aby tam grunt przygotować deputacyi bułgarskiej, którą zamierza do młodego cara wysłać książę bułgarski.

„Na czele tej deputacyi stanął metropolita ruszczuczki Grygorej, indywiduum oddane całkiem księciu Ferdynandowi, znany intrygant, któremu nie można odmówić zręczności dyplomatycznej.

„W Sredcu w kołach rządowych powszechnie sądzą, że deputacya znajdzie przyjęcie i posłuch, że tym sposobem położy się koniec naprężonym stosunkom, panującym od tak dawna. Rządowi bułgarskiemu zależy na tem przedewszystkiem, ażeby nie dopuścić interwencyi Cankowa lub Karawełowa, którzyby ugodę bułgarsko-rosyjską przyprowadzili do skutku na koszt księcia. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o to, aby księciu Ferdynandowi i młodemu następcy tronu zapewnić możność zachowania wyznania katolickiego, czemu sprzeciwiają się obydwaj wyżej wymienieni patryoci bułgarscy.“

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“ drukuje mowę posła chorwackiego Bakitja, którą tenże w sejmie istryańskim wygłosił, określając stosunek słowiańskiej ludności do aspiracyi włoskich:

„Nie jesteśmy Włochami, mimo to kochamy Włochów i cenimy wysoko kulturę włoską. Przejęci czcią głęboką i szczerą dla wszystkiego, co jest liberalne, potępiamy ukrywające się pod płaszczykiem liberalizmu niskie tendencye teroryzmu, jakim się wobec nas współobywatelstwo włoskie posługuje.

„Słowianie doskonale pojmują ducha czasu i nie znamy większego barbarzyństwa ponad to, które chce nas pozbawić gwałtem skarbu najdroższego, jakim jest narodowość i prawo, które każdy naród ma do swojego języka. Panowie Włosi mylą się, jeżeli sądzą, że zdołają stłumić ducha słowiańskiego jakiemibądź środkami gwałtownymi. Nie ma takiej siły, którąby zgnieść potrafiła ideę sprawiedliwości. Idea chorwacko-słowiańska z dniem każdym zyskuje na sile i jest tylko kwestyą czasu jej tryumf zupełny nad przeciwnikiem tracącym grunt pod nogami.

Nie chcemy nic innego, tylko sprawiedliwości. Chorwaci i Słowińcy dziś już nie śpią; Włosi nie zdołali zabić naszego ducha narodowego, gdy tenże był w uśpieniu, jakże tego dokażą dziś, kiedy lud cały domaga się rewindykacyi swoich praw?“

„Mówią nam: Słowianie dążą do jedności, czemuż do jedności Włoch dążyć nie wolno. Jedność, do której dążymy, jest postulatem zasady narodowościowej i prawa państwowego chorwackiego, — jest jednością naturalną. To, do czego dążą nasi przeciwnicy, jest czemś

---

szatni zapłacisz... Ubieraj się, pójdziemy do Aronka.

— Głodni wrócimy... — zauważył Janek.

— Et, głupstwo! U mnie będzie samowar, bo Solski całą noc nad skryptami siedzi... Ubieraj się.

Widocznie argument ten trafił do przekonania Janka, bo nie mówiąc ani słowa więcej, począł płaszcz naciągać.

— A ogolony jesteś? — zaczepił Zyzio.

Janek ręką pod brodą pociągnął, jakby się chciał przekonać, czy istotnie ogolony.

— Tak, dziś goliłem się.

— Zabierz wszystko, ażeby już nie wracać, bo uważasz, szkoda dychy.

Uwaga ta była w sam czas zrobioną.

— O, widzisz, byłbym zapomniał... rękawiczki wziąć trzeba...

Już w płaszczu będąc, wysunął komodę, szukał, przewracał długo, gniewał się, w końcu z tryumfującą miną rękawiczkę wyjął.

— Jest! — zawołał.

— A druga?

Janek marsa zrobił. Zyzio domyślał się o co chodzi.

Et, wiesz... w ostateczności możnaby i jedną się zadowolnić... będziesz w ręku trzymał i dosyć. Kto ci tam zechce sprawdzić, czy masz drugą czy nie.

Uwaga praktycznego Zyzia wcale była słuszną, mimo to Janek szukał jeszcze. Zamykał jednę szufladę, otwierał drugą — znowu zamykał, znowu otwierał.

— Niech go jasny piorun trzaśnie! — zawoł oburzony — jak się coś zapodzieje, to potem ze świecą znaleźć nie można.

Nagle, jak gdyby go myśl jakaś oświeciła, rzucił się do wieszadła jak pantera i wiszący surdut obszukiwać począł. Z tylnej kieszeni wyciągnął wreszcie tryumfująco rękawiczkę.

— A...a...a...

Pokazało się, że wróciwszy z ostatniej wizyty, jedną rękawiczkę zostawił w kieszeni surduta, drugą przez zapomnienie do szuflady wrzucił. Ostatecznie przeszkody nie było już żadnej. Janek złączywszy obie rękawiczki, jak przykładną i zgodną parę, wsunął je do płaszcza i rzekł tryumfująco:

— Chodźmy!

Podążyli tedy wprost do Aronka. Posiadał on własny sklep z gotowem ubraniem na ulicy Święto-Krzyzkiej. Na wielkim szyldzie, widać było na czarnem tle napis złotemi literami: Aron Grünfeld — sztychowany kaligraficznie z rozmaitemi wykrętasami — a z obu stron drzwi wchodowych, jakby dla ozdoby, wisiały szyldy, będące niejako uplastycznieniem i dopełnieniem górnego. Aron, jakkolwiek wiedział o tem, że złocisto wypisane jego nazwisko samo niejako w oczy wpadało, na wszelki wypadek jednak, dla tych, którzy nie lubią zadzierać głowy do góry, lub co gorsza nie umieją czytać, wywiesił po dwóch stronach drzwi: dwóch elegancko ubranych młodzieńców, malowanych przez jakiegoś mistrza z Bagna lub Grzybowa. Istotnie, niepodobna było nie zwrócić uwagi na te szyldy. Przedewszystkiem powiedzieć należy, że w doborze barw gumi-gnta przeważała stanowczo; — widocznie była ulubioną farbą nieznajomego malarza. Na niepewnem tle brudno-złocistego pejzażu, upstrzonego zielonemi plamami, naśladującego drzewa, stał mężczyzna w humorystyczno-poważnej postawie tak żywo, jak gdyby go ar-

sztucznem, negacyą i przeszkodą nam stawianą. My uwzględniamy prawa narodowości włoskiej i nie wydzieramy Włochom tego, co dla nas skarbcem najświętszym. Włosi zresztą nie dla siebie pracują, ale nad otwarciem wrót niemczyźnie, stale wzmagającej się w Tryeście“

* * *

Petersburski „*Swiet*“ pisze o kwestyi czeskiej i jej znaczeniu europejskiem:

„Czechów jest obecnie 8 milionów, ale znaczenie tej liczby okoliczność ta podwaja, że lud czeski jest oświecony najbardziej, celów swoich świadomy i gotów wszystko każdej chwili poświęcić dla dobra narodu. Lud czeski, świadom tej siły, jest czynnikiem, który zaważy kiedyś na szali wypadków europejskich.

„We walce ze zachodem i wschodem, która prędzej czy później wybuchnie, Czesi są czynnikiem ważnym, siłą ogromną i decydującą o losach Słowian zachodnich.“

* * *

„*Katoliczka Dalmacija*“ pisze:

„Wśród stronnictwa t. zw. „Obzoraszów“ rusofilizm zyskuje coraz to zagorzalszych przeciwników. Dawniej utrzymywał się on w nieokreślonych i niczem nie ujętych fantazyach, których nikt za złe marzycielem nie brał. Dziś atoli występuje już w programie konkretnym we formie różnych wniosków, które nietylko, że sprawie słowiańskiej żadnego nie przynoszą pożytku, ale nawet szkodzą, gdyż dają przeciwnikom naszym broń do ręki.

„Niefortunny stawili wniosek w sejmie dalmatyńskim w Żaborzu posłowie Bekotic i towarzysze, domagając się wprowadzenia nauki języka rosyjskiego, jako przedmiotu obowiązującego we wszystkich szkołach średnich dalmatyńskich.

„Wniosek atoli co było rzeczą łatwą do przewidzenia, upadł, gdyż wystąpiła przeciw niemu większość posłów słowiańskich ze zasłużonym Klaiczem na czele...“

K.

BADANIA NAUKOWE.

Szkice antropologiczne.

(Mały rozwój studyów nad szamaństwem pierwotnem. — Szamani mogli drogą empiryczną dojść do posiadania wielu praktyk duchowych. — Praca Hoffmana. — Różne kategorye szamanów. — Różnica jest natury psychologicznej. — Wnioski.)

Socyologia pokonała mnóstwo trudności: zerwała ze staremi dogmatami filozoficznemi, które podrywały jej istnienie w samym rdzeniu, bo zaprzeczały przyczynowości we wzajemnem powiązaniu zjawisk społecznych; poradziła sobie z przesądami, twierdzącemi, że po za obrębem naszej cywilizacyi istnieją wszędzie tylko bezrząd i swawola, otrząsnęła się nawet z tak głęboko zakorzenionych wierzeń, że dzisiejsza forma własności stanowiła od początku podwalinę życia gromadzkiego. Temu powszechnemu postępowi nie uległa pewna dziedzina stosunków w rozwoju kulturalnym ludzkości — pierwotnego kapłaństwa. Niepodobna powiedzieć, ażeby spoczywała ona odłogiem zupełnym. Nie! Możemy wskazać nawet parę dzieł, poświęconych temu przedmiotowi. Spencer podjął go w swoim systemie filozofii syntetycznej, poświęcając mu tom cały, ale niestety, poglądy jego są na wskroś, już nie powiem opaczne, lecz powierzchowne, przedewszystkiem zaś zaprzątają się rozwojem samej instytucyi craz hierarchii kapłańskiej i żadnego światła nie rzucają na psychologię pierwotnych kapłanów. Lippert swoje studya nad tym przedmiotem zawarł aż w dwóch tomach i również nie rozwiązał i nawet nie dotknął zasadniczego zagadnienia: badaczowi niemieckiemu także szło tylko o hierarchię kapłanów, lecz nie o wejrzenie w ich duchowość. W nauce pozostały jeszcze całkowicie poglądy wojującego liberalizmu, który utrzymywał, że wszystkie wierzenia są wynalazkiem szarlatanów, ceremonie zaś — zwykłem kuglarstwem. Co do pierwszych, t. j. pojęć i wierzeń, zgodzono się wreszcie, że stanowią one płód konieczny i naturalny umysłu ludzkiego, przystępującego dopiero do odcyfrowania olbrzymiej księgi, którą nazywamy przyrodą. Tem samem oczyszczono poniekąd przedstawicieli rodzącego się kapłaństwa od zarzutu, że świadomie kłamali. Ale zrobiono to tylko częściowo. Bo co do obrzędów szamańskich, zaklęć, środków leczenia, proroctw, pozostało w całej mocy dawne uprzedzenie. Szaman — to oszust, który świadomie obełgiwa swoich współrodaków na każdym kroku; kłamie mową, kiedy udaje, iż jest w natchnieniu proroczem, kłamie czynem, gdy pielęgnuje chorego, lub rzuca się w opętaniu fałszowanem.

Kto jednak, nie bacząc na to apryorystyczne rozstrzygnięcie kwestyi, weźmie się do poszukiwań źródłowych i zacznie troskliwie a drobiazgowo notować każdy szczegół z życia szamanów i zapisywać szczupłe wzmianki, tu i i owdzie spotykające się o dziedziczności psychologicznej w rodzie czarodziejów, kto będzie przypatrywał się ich fizyognomii, one gardząc fakcikami, chociażby wyglądały nie błaho, ten zostanie odrazu uderzony kilku rysami, które przedstawiają tę postać życia pierwotnego w świetle osobliwem. To cała kopalnia anomalii psychologicznych, kopalnia zaiste pouczająca i ciekawa! Szaman, będący z urodzenia naturą „psychiatryczną“, zanim rozpocznie swoją praktykę, uprzednio usuwa się, niekiedy na całe lata, ze społeczeństwa, z którem zrywa wszelkie stosunki, żyje w odludnem ustroniu, uprawia krańcową wstrzemięźliwość płciową, pości i jednocześnie drażni swoje ciało narkotykami, ćwiczy swojego ducha w zadumie i prawdopodobnie w samohypnozie, a zarazem zaprawia się do swej roli. Pod tym względem posiadamy fakty bardzo wymowne, które dowodzą, że czynności naszego organizmu, odbywające się niezależnie od naszej woli, mogą być poddane tresurze i odpowiednio, że tak powiem wyszkolone. Szaman może dowolnie wywoływać na swojem ciele tak zwaną „gęsią skórkę“, prostym aktem swojej woli podnosić liczbę uderzeń pulsu lub ją zmniejszać. Niekiedy nowicyat, trwający przez długi przeciąg czasu, polega na takiem stopniowem opanowywaniu przez wolę wielu czynności: pustelnik przyucza się oddychać jednem tylko, lub drugiem nozdrzem, to kolejno obydwoma i łykać powietrze w długich lub krótkich przerwach. Wzięliśmy parę przykładów, ilość ich moglibyśmy pomnożyć znacznie. Jestem wprost przeświadczony, że jako psychologowie-praktycy, te postacie pół obłąkane, pół-rozklekotane nerwowo posiadają większy zasób wiedzy empirycznej, aniżeli ten, jakim rozporządza nauka tegoczesna. Niepodobna zaprzeczyć, że wraz z rozwojem filozofii nowożytnej, usiłującej przełożyć ducha na język materyi i życie psychiczne rozpatrywać jako szczególny ruch drobinek tej ostatniej, zaniedbano niektóre objawy duchowe i nawet niedowierzano im (jak to wi-

---

tysta w chwili, kiedy miał upaść unieśmiertelnił. Mężczyzna ów, w jasno-bronzowym paltocie, rozpiętym, z pod którego wychylały się klapy niezdecydowanej barwy surduta — ale z ulubionym odcieniem w kamizelcie białej w żółte kwiatki, których nazwać nie potrafiłby z pewnością sam Linneusz — w jasnych spodniach w paseczki, trzymał laseczkę, jak to mówią, delikatnie i wskazywał na drzwi, niby zapraszając. Dodać muszę, że mężczyzna ten, nosi żółte bokobrody i miał cerę twarzy żółtą. Wszystko to byłoby jeszcze niczem, wobec postawy i wyrazu oczu tego eleganta. Malarz usiłował koniecznie przedstawić na szyldzie dandysa, ale troszeczkę przecholował i zrobił karykaturę w humorystycznej pozie, że niepodobna było wstrzymać się od śmiechu patrząc na niego. Aktor, któryby pragnął wystudyować typ i ruchy żydowskiego modnisia, przebranego w suknie europejskie, na ulicy Święto-Krzyzkiej znajdzie wśród szyldów krawieckich bogactwo nieprzebrane. Ów złocisto-rudy elegant Aronka miał właściwą żydom arogancyę i minę człowieka szukającego sposobu zaimponowania i zwrócenia na siebie uwagi.

Drugi szyld był kopią pierwszego — tylko w innej barwie.

Gdy dwaj młodzi ludzie zatrzymali się przed oświetlonem oknem, spostrzegli w głębi, jakby umyślnie chowającą się postać Aronka, ozdobioną długą, siwą brodą. Twarz jego mignęła raz, drugi, trzeci — znikała w głębi, ukazywała się powoli z boku, jak gdyby Aronek nie chciał być widzianym. Manewr ten Zyzio spostrzegł.

— Wejdźmy... — szepnął Janek.

— Poczekaj... niech on nas zaprasza — mitygował Zyzio. — Niech się jemu nie zdaje, że my tak bardzo chcemy coś kupić; mniej zedrze.

Janek uśmiechnął się.

Pozostali jeszcze chwilkę. Zyzio jakąś kamizelkę umyślnie palcem pokazywał — potem pomaleńku ruszyli.

Ledwie drzwi sklepu Aronka minęli, nagle otworzyły się one z łoskotem i ze środka magazynu, jak pająk zaczajony, wyleciał subjekt sklepowy, rzucił bystre spojrzenie na wszystkie strony, ażeby się przekonać, czy nie ma policyanta, a potem obiema rękami za poły młodzieńców pochwycił i na miejscu osadził.

— Panie... panie... jaśnie panie! Niech panowie zajdą, może co się podoba?... Proszę... bardzo proszę...

Zyzio odważniejszy odezwał się:

— Cóż to znowu takiego — rzekł niby oburzony — chwytać za poły przechodniów...

— Za poły? Nu? Dla czego za poły? Przepraszam jaśnie pana, może panowie czego potrzebują?

— Możesz tu fraka dostać — wtrącił Zyzio, spojrzawszy na kolegę.

— Tak...

Żydek kłaniał się z taką samą miną, jaką miał protoplasta jego na szyldzie Aronka.

— Nu, proszę, proszę... frak jest,. sto fraków,. tysiąc fraków pan dostanie... Przecież magazyn Grünfelda zna cała Warszawa...

Mówiąc to poufale brał pod ramię Janka i Zyzia po kolei i do sklepu zawracał. Sam Aronek stał w otwartych drzwiach, gładząc całą garścią brodę, i chociaż nie wiedział o co chodzi, krzyczał jednak zachęcająco:

— Proszę panów... proszę... jest, jest... wszystko jest...

Na tę wrzawę, jaka się zrobiła, wszystkie sklepy z ubraniem męzkiem z najbliższego sąsiedztwa, jako też z przeciwka otworzyły się, a we drzwiach ukazały się głowy subjektów. W tem do uszu ich doleciał wyraz „frak“, nic więcej nie potrzeba im było. Wszyscy ruszyli naraz do jednego punktu i półkolem otoczyli Janka i Zyzia.

— Proszę do mnie, do mnie... tu zaraz... — krzyczał pierwszy, który na placu stanął.

O nic więcej nie pytając, ciągnąć począł Janka.

— Nu? Co ty ciągniesz? Niech kupiec sam idzie... — mitygował inny.

— Do Grünberga proszę jaśnie pana... u Grünberga zawsze Guczo... nu, ten Guczo, co z koniami skacze, u nas zawsze...

dzimy n. p. w somnabulizmie i innych). Tymczasem tam, w dzikiej, a fanatycznej samotni, na podkładzie mistycznego pojmowania przyrody, władze ducha bywają ćwiczone systematycznie, stany nienormalne doprowadzone do ostateczności, z uszczerbkiem dla zdrowia ciała i nawet umysłu. Powszechnie podają, że szamani na starość tracą wzrok; doktor medycyny, etnograf J. G. Bourke, czyni uwagę, że przyczyną ślepoty jest nieustające podniecenie nerwowe, odzywające się jak najfatalniej na całym organizmie. Hypnotyzm, któremu nauka dopiero niedawno udzieliła dyplomu prawowitości, tak mało zbadane stany tak zwanej cerebracyi nieświadomej, różne objawy panowania woli nad funkcyami organizmu, posiadającemi siedlisko swoje w systemie nerwów sympatycznych, wszystkie te tak podejrzane ćwiczenia bywają tam rozwijane i na szeroką skalę praktykowane. Nawet wśród najniższego szczepu, australczyków, spotykamy się z usypianiem hypnotycznem. W Indyach włóczęgi niekiedy uwodzą dzieci angielskie: widocznie hypnotyzują je i poddają im rozkaz, ażeby okradały rodziców. Dzieciak, pozbawiony swojej woli, wyciąga z domu, co tylko zdoła i niesie swemu duchowemu władcy. Naturalnie, przypisuje się to oczom uroczym i oczarowaniu. Sądzę, że studya systematyczne nad temi osobami, wykolejonemi z normalnego życia duchowego, bezwarunkowo naprowadziłyby naszych psychologów na niejedno wdzięczne zagadnienie. Zresztą, wskazówki te zwykle szczupłe. Szaman bynajmniej nie należy do gadułów, lubiących paplać o sobie. Przy obecnem zetknięciu się naszej kultury z pierwotną, jest to postać, zachęcająca rodaków do oporu i kryjąca troskliwie przed nieproszonymi najezdnikami zarówno swoje praktyki i umiejętność, jako też wierzenia, których jest piastunem. To też praca W. J. Hoffmana o „Wielkiem towarzystwie szamańskiem u odżybujów“*) stanowi nader cenny przyczynek do naszej znajomości psychologii pierwotnego kapłaństwa. Uczony ten jest na utrzymaniu fundacyi smithsonowskiej i idąc za wzorem Morgana, żyje wśród plemion czerwonoskórych, celem poznania ich zwyczajów. Udało mu się dotrzeć do tajnych związków, uprawiających okultyzm i zebrać mnóstwo materyału. Ogłosił swoje spostrzeżenia w rocznikach waszyngtońskiego biura etnograficznego, monografia zaś jego, lubo dotyczy jednego tylko plemionka, rzuca światło poważniejsze na to zaniedbane pole życia społecznego, aniżeli olbrzymie prace Spencera i Lipperta.

*) The Midewiwin, or Grand medicine-society of the Ogibway.

Przedewszystkiem po raz pierwszy z całą wyrazistością dowiadujemy się, że istnieją bardzo odmienne kategorye szamanów, prócz których są jeszcze tak zwani znachorzy, będący znawcami roślin, korzonków i płodów i zajmujący się leczeniem. Są to nasi lekarze w stanie zacząkowym, nieokrzesani, ale nie należą oni do szamanów i nie przedstawiają wybujałości tresury duchowej. Po za tem istnieją u odżybujów aż trzy kategorye czarodziejów. Hoffmanowi udało się nawet określić, w jakim stosunku ilościowym znajdują się tego rodzaju grupy. Plemię owo zawiera do półtora tysiąca członków, z liczby tej w związku szamańskim midów znajduje się około stu plemieńców. Jest to w gruncie rzeczy towarzystwo okultystyczne. Prócz tego w plemieniu mamy pięciu jessakajdów i dwóch wabanów. Najciekawszym z całego opisu jest nacisk, z jakim wspomniany etnograf podnosi tę okoliczność, że nie każdy może zostać szamanem tej lub innej z pośród ostatnich kategoryi, nie zależy to bowiem od dobrej woli, ale trzeba na świat przyjść już z pewnemi szczególnemi właściwościami. Pierwszej podniety zwykle dostarczają sny: jeśli one bywają w ciągu pewnego określonego rodzaju, naówczas młodzieniec zostaje wciągnięty odpowiednio do tej lub innej kategoryi, która sama poszukuje takich pomazańców na swoich następców. Powrót snów tej samej lub pokrewnych kategoryi stanowi więc dla szamanów pewną wskazówkę, świadczy niejako o istnieniu pewnych uzdolnień fizyologicznych, które „wywołują stosowne stany duchowe podczas bezwładności sennej. Wabenowie są, jak wyraża się Hoffman,“ firedealers, tj. czarodziejami od ognia. Główna właściwość zasadza się na bezkarnem pogrążeniu ręki w ukrop, lub na trzymaniu rozpalonych do czerwoności kamieni. Jak wiadomo, próby, czynione w Europie, dowiodły, że jeśli ręka jest czysta, to bez niebezpieczeństwa może pogrążać się na chwilę w płynną masę żelaza. Fakty więc i właściwości, przypisywane tej kategoryi szamanów, nie są niemożliwością, idzie tylko o długość podobnego doświadczenia. Niestety, Hoffman pod tym względem niedostarcza wskazówek, co najwyżej wolno mniemać, że pewne osoby mogą przedłużyć próbę ogniową po za granice, właściwe organizmowi normalnemu. Jessakajdy znowu spełniają czynności prorockie i jasnowidzące. Z niektórych szczegółów godzi się dorozumiewać, że umiejętność wpadania w stan somnambuliczny doprowadzili oni do wysokiej doskonałości, że w tem uśpieniu następuje u nich wyładowanie cerebracyi nieświadomej z właściwemi temu stanowi podnieceniа objawami. Warto zaznaczyć, że szamanom tej kategoryi czerwonoskóry przypisują mnóstwo uzdolnień, któremi nasi spirytyści obdarzają swoich cudotwórców; związany postronkami jessakajd w oka mgnieniu strząsa z siebie więzy; kiedy skrępowany zostanie ukryty w namiocie, to szałas zaczyna się chwiać, z niego zaś wychodzą różne dźwięki. Wreszcie organizacya trzeciej kategoryi, midów, jest wprost mysteryami natury spirytystycznej. Dostęp do tego związku mają wszyscy plemieńcy, ale kandydat musi przejść przez obrzęd wtajemniczenia. Kiedy zaś dostanie się do mysteryi, jeszcze przechodzi przez szczeble hierarchii, zanim pozna wszystkie tajemnice. Niepodobna wdawać się w opis szczegółów, towarzyszących temu dopuszczeniu do związku. Winniśmy jednak podkreślać ich charakter, nawskroś przypominający seanse. Odbywają się one w półświetle, istnieje coś w rodzaju łańcucha, są kierownicy, arcykapłani związku i zarazem medya: przedmioty same niby się poruszają, puste worki się nadymają i czołgają.

Nie towarzyszymy Hoffmanowi w drobiazgach, niezmiernie ciekawych a dotyczących strony obrzędowej, ponieważ leżą już po za granicami niniejszego artykułu. Praca etnografa fundacyi Smithsonowskiego wykazała, że to, co uważamy za kategoryę jednolitą, składa się z kilku odłamów wyspecyalizowanych, co większa, każdej takiej grupie odpowiada szczególny podkład psychiczno-fizyologiczny. Zręczność i kuglarstwo, oraz tresura duchowa podnoszą te właściwości przyrodzone lub nadają im wygląd psychiatryczny. Na czem różnica ta polega, jakie postacie przybiera, te i innej pokrewnej natury pytania są przedwczesne. Sumiennie zbadanego, materyału, popartego przez odpowiednie studya w naszej kulturze, nie posiadamy, zawierzać zaś pierwszej lepszej opowieści, chociażby powtarzała się wielokrotnie, nie mamy powodu, a nawet prawa, bo by to nas mogło zaprowadzić na manowce. Zaznaczamy tylko, że badając psychologię szamanów, fetyszerów i innych mistrzów filozofii pierwotnej, spostrzegamy pomiędzy nimi przedewszystkiem dwa typy odmienne, jeden, który ćwiczy wolę swoją w kierunku zewnętrznym, tj. oddziaływania na innych i poddawania im rozkazów: drugi zaś, wprawiający się w odbieranie takich poleceń. Pierwsi — to nasi „magnetyzerzy“, z którymi da się może połączyć parę postaci ze świata przesądów naszego ludu: „oczy urocze“ — cioty rzucające czary na kogoś itd. Praktyki tego rodzaju są pokrewne z usypianiem hypnotycznem, a raczej z poddawaniem myślowem.

Drugi typ bierny, może należałoby jeszcze rozpołowić na takich, którzy ulegają rozkazom z zewnątrz przychodzącym i wpadają w szczególny stan duchowy, oraz innych, tracących zwykłą świadomość pod wpływem własnej woli, niekiedy wzmocnionej działaniem mechanicznem

---

— E... e... niezawracaj kontramarki

— U niego za pozwoleniem dla lokajów spodnie kupują...

— A do ciebie hrabowie chodzą? co?

— Pewnie... Niech pan do Grünfelda... pofatyguje się.

— No, chodźmy do Grünfelda... tu najbliżej — zawyrokował Zyzio.

Ledwie Janek i Zyzio zdołali nawrócić do sklepu, na ulicy powstał nagle wybuch gwałtownej łajanki w żargonie żydowskim; obrzucano się obelżywemi wyrazami chwilkę, a potem wszyscy rozchodzić się poczęli do sklepów — spokojnie.

Na progu swego sklepu powitał wchodzących Aronek.

— Czego panowie sobie życzą?

Zyzio zaczął politykować.

— My właściwie dążyliśmy spokojnie do swego krawca, u którego się ubieramy.

— Do jakiego, jeżeli wolno pytać?

— Do Szwarcgelbera.

Aronek skrzywił się, jakby octu pokosztował.

— Szwarc—gel—be—ra?... Za pozwoleniem, ale u mnie takiej tantedy nie ma...

Pragnąc jednak od razu przystąpić do rzeczy, zapytał znowu:

— Czego panowie sobie życzą?

— Ten pan — rzekł Zyzio, pokazując Janka — potrzebuje fraka!..

— Kupić czy pożyczyć?

— Pożyczyć... na dzisiejszy wieczór tylko...

— Można.

Icek, ów subjekt sklepowy, który Janka i Zyzia na ulicy przytrzymał, skoczył jak szczupak w bok i gwałtownym ruchem począł ściągać z wieszadła fraki, przerzucając je na lewe ramię, a kiedy już miał tego dosyć, zamaszystym ruchem na stół cisnął. Podniósł potem jeden, strzepnął, a trzymając w powietrzu palcami obu rąk, rzekł:

— Niech pan ten przymierzy... to jest dopiero frak!...

Zaczęło się mierzenie — ten za krótki, ów za długi, ten za ciasny, tamten zą wolno leży. Wreszcie znalazł się odpowiedni.

— Ten jak ulany... — zadecydował Aron.

Janek niezupełnie w to wierzył; doświadczał wrażenia, że go ktoś za plecy ściska — robił więc ruchy, jakby się pragnął z niepotrzebnych uścisków uwolnić. Aron gładził go po plecach.

— Nu, co pan chce? Doskonale leży.

— Za ciasny, może pęknąć — zauważył Zyzio.

— Co ma pękać zaraz? A jak będzie wolniejszy, to nie może pęknąć?

— Jużci... ale jeżeli peknie, to pan sobie każesz płacić za to.

— A jak pan chce, ażeby nie płacić?

Wreszcie znalazł się frak, który zadowolnił wszelkie wymagania Janka.

— Co pan weźmiesz za wieczór? — zapytał Zyzio, który odgrywał rolę człowieka bardzo doświadczonego.

— Pięć rubli — odrzekł spokojnie Aronek.

— Co panu Pan Bóg dał? — krzyknęli naraz we dwa głosy koledzy. — Cóż to? pierwszy raz frak pożyczać, czy co? Chodźmy do naszego Szwarcgelbera — zawyrokował Zyzio.

Janek frak ściągać począł, Aron pomagał mu; ujął, złożył i na ladzie umyślnie położył osobno. Robił to wszystko ze spokojem człowieka, znającego naturę ludzką.

— Nu? Pan myśli, że Szwarcgelber da daremnie?

— Nie da, ale też i zdzierać nie będzie.

Wyraz „zdzierać“ zadrasnął trochę miłość własną Arona.

— Zdzierać? nu? aj waj! — rzekł lekceważąco. — Co tu zdzierać? Na co zdzierać? Z kogo zdzierać?

Wreszcie skierował się wprost do Zyzia, który grał pierwsze skrzypce:

— Ile pan da?

— Pięć złotych — odrzekł Zyzio rezolutnie.

— Fiu, fiu, fi! I to pieniądze.

Przy tych słowach wziął znowu frak do ręki, za obydwa rękawy podniósł wysoko do góry tak, że wszystkie jego linie zarysowały się wyraźnie w powietrzu i rzekł spokojnie:

dreszczami, wpatrywaniem się w kryształ górski itd. Zdaje się, iż różnorodność w tym zakresie jest bardzo wielka i że zasadniczą podstawą jest nietylko uśpienie hypnotyczne, ale inny stan duchowy, mało jeszcze zbadany, chociaż powszechny wśród mistyków, a pokrewny transowi medyów: polega on na dreszczach konwulsyjnych, przyćmieniu normalnej umysłowości i żywiołowem wyładowywaniu się cerebracyi nieświadomej. Są to prorocy, wyrocznie, znachorzy, jasnowidzący. O tym przedmiocie wyszła świeżo książka, z którą niebawem poznajomimy czytelników. Hoffman do tych kategoryi dorzucił jeszcze czarodziejów od ognia.

Zdaje się zatem, że zawód szamanów przedstawia dobór szczególnych usposobień. Nasze domy dla obłąkanych, kuglarze, medya spirytystyczne, histero-epileptycy — oto punkty wytyczne, pomiędzy którymi wahają się natury, uprawiające praktyki szamańskie i będące mistrzami kunsztu czarodziejskiego.

L. Krzywicki.

Wychowanie i szkoła.

Z pola walki pomiędzy realizmem a klasycyzmem o szkołę wyższą w Prusiech.

(Ciąg dalszy.)

Na polu moralnego wychowania urządza klasycyzm nieskończone spustoszenia przez to, iż wywyższa pogańskie ideały starożytnego świata kosztem chrześcijańskich ideałów nowszych czasów. Już ta bowiem okoliczność, iż na polu moralnego pouczenia zadawalnia się ogólnikami o tem, co dobre i piękne, a nie wskazuje, w czem w naszych obecnych stosunkach tego dobrego i pięknego szukać należy, sprawia zamęt w ucznia umyśle. Nauki zaś, które o istocie dobrego i pięknego znajduje w swoim Platonie i Cyceronie zwiększają tylko ten zamęt. Albowiem greckie *„agatos“ i „arete“* i łacińskie tus mają zupełnie inne, etycznie o wiele niższe znaczenie niż nasze „cnota“ i „dobry.“ Co zatem uczeń o tych pojęciach znajduje w swych klasykach, to nie stosuje się do pojęć, wpojonych weń od dzieciństwa na innej drodze i odwrotnie. Przez to zaś powstaje circulus vitiosus, którego następstwem u myślącego młodzieńca jest przyćmienie i przytępienie jego całej wewnętrznej istności.

Ale nie dość na tem. Klasycyzm toruje wprost drogę materyalizmowi, usuwając chrześcijaństwo na plan drugi i wysławiając jego kosztem materyalistyczno-estetyczne ideały starożytnego świata. Gdzie zaś zagnieżdża się materyalizm, tam pojawia się w też tropy brat jego mleczny, pessymizm. Ztąd też pochodzi, iż nasze klasy wykształcone przejęte są na wskroś straszliwą chorobą nowoczesną. Ba, nawet on nieszczęsny rozdział społeczny pomiędzy klasami wykształconemi a ludem ma po części swe źródło w systemie wykształcenia, praktykowanym po naszych gimnazyach. Tu bowiem wmawiają w ucznia od najpierwszej młodości, iż ucząc się łaciny i greckiego jest czemś lepszem i doskonalszem niż wszyscy, którzy do tego nie mają sposobności. Ztąd też pochodzi, iż często sekstaner na swego ojca, prostego rzemieślnika, patrzy z niejakiem zarozumieniem, ponieważ ten nie deklinował mensa i nie tłumaczył Mundus est rotundus i Lupus est bestia, a bardzo częstemi są przypadki, iż niedoszły kwartaner czuje się za nobliwym do rzemiosła, ponieważ czytał Neposa. Tym sposobem klasy wykształcone i masa narodu duchowo poczynają iść obok siebie i faktycznie niewielu tylko wykształconych rozumie lud, a wśród ludu równie rzadkiemi są jednostki, które rozumieją wykształconych. Ten brak łączności duchowej jest zaś mianowicie w czasach obecnych wielce niebezpieczny, bo utrudnia niepospolicie wyrównanie uzasadnionych i nieuzasadnionych przeciwieństw pomiędzy nimi na polu społeczno-politycznem.

Wyłącznie skutkom wychowawczym klasycyzmu poświęcona jest druga rozprawka Alethagorasa. Wychodzi on z tego spostrzeżenia, iż wbrew pieniom pochwalnym, rozbrzmiewającym na cześć idealizującego wpływu studyów klasycznych w życiu duchowem młodzieży gimnazyalnej pojawiają się coraz częściej objawy przerażającego upadku. Jak to sobie wytłumaczyć? Czyby studya klasyczne nie miały mieć tej siły idealistycznej, jaką im w powszechności przypisują!

Autor daje krótki pogląd na drogi, jakiemi studya klasyczne doszły do swego obecnego stanowiska w Niemczech. W czasach najniższego upadku politycznego i moralnego, około połowy ubiegłego stulecia, były one klasom wykształconym narodu niemieckiego rodzajem religii, która ze swym, po części niejasnym kultem humanitarności powołaną być się zdawała do tego, aby im zastąpić miejsce dawnych, obumarłych form, oraz religijnej samowiedzy. Ale czasy zmieniły się na ich niekorzyść, odkąd jako współzawodniczka studyów klasycznych wstąpiła w szranki nowoczesna wiedza. Ona to bowiem przenika dzisiaj nasze czucie i myślenie i zapładnia swym tchem ożywczym nasze działanie. Zarzuty wszakże, jakoby rozwój nowoczesnej wiedzy był zgubą idealizmu, są niesłuszne. Wytworzył bowiem z siebie i nowoczesny rozwój umysłowy swe właściwe ideały i to ideały, które o całe niebo przewyższają ideały, przekazane nam przez starożytność. Powtarzając zaś do znudzenia, iż ideałów tylko w starożytności szukać należy, wyświadcza szkoła młodzieży naszej tylko nader wątpliwą przysługę. W czasach bowiem, kiedy nawet starodawne pojęcia o tem co złe a co dobre, chwiać i mącić się poczynają, kiedy fale walki naukowej, politycznej i społecznej idą tak wysoko, iż nieraz cały dotychczasowy dorobek cywilizacyjny, zdaje się zakwestyonowanym, najgłówniejszem jej zadaniem powinno być oddanie w służbę cywilizacyi jak największego kontyngensu ludzi, którzyby z idealnym sposobem myślenia łączyli jasne pojęcie faktycznych stosunków teraźniejszości.

Ani jednego, ani drugiego powiedzieć nie można o gimnazyum klasycznem. Owszem wywołuje ono w umysłach młodzieży, pieczy swej powierzonej, niejakie zobojętnienie wobec idealnych zadań teraźniejszości. Podstawą bowiem naszej obecnej świadomości moralnej jest pojęcie „człowiek,“ które pomimo przeszkód, jakie rozwój jego napotyka, stanowi już dzisiaj punctum saliens naszego cywilizacyjnego rozwoju. To zasadnicze pojęcie było starożytnemu światu tak dobrze jakby zupełnie obce. Natomiast wydoskonalił świat starożytny pojęcie „obywatel,“ a cała jego etyka była dostosowana jedynie do tego pojęcia. Myślący i czujący młodzieniec, któremu od najwcześniejszych lat wpajają przekonanie, iż starożytność była czasem najwznioślejszych ideałów i któremu na nieskończoną niższość jej moralnego czucia i myślenia filologowie nigdy nie zwracają uwagi, przychodzi w ciężki konflikt z pojęciami etycznemi, wpojonemi mu przez życie i niemal wyssanemi z mlekiem macierzyńskiem. Czytając bowiem w swym Ksenofoncie, Tucydidesie, Cezarze, Tacycie o brutalnych gwałtach i bezdennych nikczemnościach, jakich w starożytności mógł sobie pozwalać mocniejszy względem słabszego, zwycięzca względem zwyciężonego, pan względem niewolnika, jest skłonny widzieć w nich tyleż pogwałceń prawa naturalnego, podczas gdy w rzeczywistości nie są one niczem innem, jak naturalną konsekwencyą zapatrywania podstawowego, podług którego interes państwa, t. j. klasy panującej jest jedynie racyonalną zasadą rozsądnego działania.

Niesłusznym jest także zarzut, jakoby wiedza dzisiejsza sama przez się prowadziła do materyalizmu. Tak zwany materyalizm nie jest bowiem jakąś osobną formą choroby, ale jednym z licznych symptomatów wewnętrznego zabolenia duszy społecznej. Nie może on też zatem wyleczonym być jakiemś specificum, ale jedynie przez to, iż wyczerpanej duchowo ludzkości w miejsce dawnych, obumarłych ideałów

---

— Niech pan patrzy... za taki frak pięć złotych? Niech lepiej leży!...

Rzucił frak na ladę.

— Za pięć złotych kelnerskiego fraka pan nie dostanie... co to cały za pozwoleniem łojem śmierdzi, a ten jak złoto.

Znowu frak do rąk pochwycił i kręcił nim przed oczyma Janka.

— Niech pan nie żartuje... od czego nie będzie?

— Pięć złotych — rzekł Janek.

— Da pan dwa ruble?

— Pięć złotych — twierdził z pewnym uporem Zyzio.

— Półtora nie będzie?

— Nie.

— Rubla nie będzie?

— Nie.

Aron uchwycił frak i gwałtownie do rąk Janka wcisnął.

— Niech pan zdrów tańczy...

Janek zapłacił pięć złotych, frak wciągnął a mundur zostawił. Aron obejrzał starannie mundur, głową kiwał spostrzegłszy, że jest wytarty na łokciach i pod pachami, wreszcie rzekł z rezygnacyą:

— Niech już tak będzie...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

M. SCHOEPP.

AFRODYTA.

Tłom. z niemieckiego F. i H.

Bez zaprzeczenia było to najwybitniejsze dzieło sztuki tegorocznej wystawy. Artysta-rzeźbiarz, dotąd zupełnie nieznany stał się sławnym w przeciągu jednej nocy. Dawano mu sumy bajońskie — wydzierano sobie jego autografy — piękne panie nasyłały go wonnemi liścikami. Mieszkanie jego, znane dotąd jedynie wierzycielom i małej liczbie przyjaciół, stało się nagle punktem zbornym koryfeuszów sztuki. Jakżeż można było zapoznać taki geniusz! Czy istotnie już częściej wystawiał? I dzieła jego nie znalazły nabywców? Nie do uwierzenia!

Krytyka nawet pomijała go milczeniem. Teraz wszakże śpiewała mu hymny pochwalne i stawiała go w rzędzie najwybitniejszych wybrańców muzy.

Kuryerki i dzienniki zamieszczały jego życiorys w najdrobniejszych szczegółach. Nazywano go „artystą z bożej łaski“, „ukochanem dzieckiem muzy“, „wybrańcem geniuszu“ i t. d. Świat wydał więc nowego mistrza, lecz nikt nie mógł się poszczycić odkryciem nowej gwiazdy. Trzy tygodnie już „Afrodyta“ wystawioną była w „Salonie“ — a najdziwaczniejsze pogłoski krążyły o mistrzu, który rozstać się nie chciał z swem dziełem. Pewnego dnia zamieszczono nad posągiem kartkę z lakonicznym napisem: „Sprzedane.“ Niebawem dowiedziano się, że za bajeczną sumę kupił „Afrodytę“ ks. Wernikoff — artysta zaś zobowiązał się, nigdy nie odtworzyć kopii dzieła swojego. Kilka dni zajmowano się jeszcze artystą i jego dziełem — wkrótce jakaś sławna awanturka stała się dla mieszkańców wielkiego miasta „l'affaire du jour.“ Tylko książę Wernikoff cierpliwie piął się po niewygodnych schodach do atelier młodego artysty, by z nim porozmawiać o „Afrodis“ greckiej.

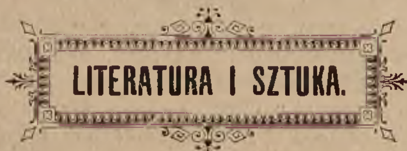
Książę Wernikoff była to postać wspaniała o dumnem, klasycznem czole, delikatnie wyrzeźbionych rysach, z których przebijała głęboka cześć dla własnego „ja.“ Broda jego, przyprószona siwizną, kryła despotyczny zakrój ust — postrach sług i podwładnych. Wyraz ten wybitniej jeszcze malował się w wyniosłem spojrzeniu jego siwych oczu, — młody artysta zawdzięczał dotychczasowe względy tego pana z panów jedynie mistrzowskiej piękności swego dzieła. Gdy książę za trzecią wizytą objawił

życiowych wskazuje się nowe. Do tego zaś kompletnie niezdolna jest filologia, będąc sama w sobie gałęzią wiedzy obumierającą. Natomiast odświeżenie i duchowe odrodzenie dla spragnionej nowych ideałów ludzkości wyjść może tylko ze strony nowoczesnej wiedzy, której ognisko tworzą nauki matematyczne i przyrodnicze.

Wiedza ta nie stoi w żadnem a żadnem przeciwieństwie z idealizmem, a nauki przyrodnicze bogate są w elementa, które prawdziwego wieszcza natchnąć byłyby zdolne do twórczości poetycznej. Ba, nie zbywa im nawet na pierwiastkach, z których poczucie religijne doznać by mogło wielkiej podniety. Ztąd też pochodzi, iż wielcy badacze przyrody, Newton, Kepler, Leibnitz, Laplace, Zoellner, Wallace, a nawet ów zniesławiony i spotwarzony Darwin byli przejęci głębokiem religijnem uczuciem. Ze zaś obecnie wielka część naszych „wykształconych" z lubością biegnie za owemi „badaczami", którzy wśród ogłuszającego zgiełku trąb i kotłów po rogach rynków i ulic ogłaszają swą wiedzę, temu nie winna nauka przyrodnicza, ale brak sądu o rzeczach przyrodniczych w naszej publiczności, który ich oddaje na pastwę pierwszego lepszego szarlatana. Niechby tylko młodzież po naszych szkołach wyższych otrzymała gruntowniejsze wykształcenie przyrodnicze, a skargi na materyalizujący wpływ nauk przyrodniczych z pewnością wkrótce by zamilkły.

Jeżeli wszakże chce się wychować młodzież do spełnienia tych idealnych zadań, które nowoczesna cywilizacya na nią wkłada, natenczas podług rady Victora Hugo i naszym szkołom wyższym nawrócić należy do niespożytego źródła wszelkiego idealizmu, do chrześcijaństwa. Nie wynika ztąd wszakże bynajmniej, jakoby należało pomnożyć w gimnazyach ilość lekcyi, nauce religii wyznaczonych, gdyż i tak już katechizmu, dogmatyki, historyi kościelnej uczą w nich raczej za wiele niźli za mało, lecz należałoby w sercach młodzieży już od najwcześniejszego wieku budzić większy szacunek względem chrześcijaństwa i świadomość nieskończonej wartości cywilizacyjnej, jako ona posiada. Tego zadania niestety nie spełnia należycie gimnazyum klasyczne i spełniać go nie może, ponieważ głównem jego zadaniem jest wysławianie starożytności. Pomiędzy starożytnością zaś a chrześcijaństwem leży przepaść, której nie wyrównały lat tysiące i nie wyrównają drugich lat tysiące. Zatem też wysławianie jednego odbywać się może tylko kosztem drugiego. Ztąd więc pochodzi, iż gimnazyum nasze podobne jest do dawnej świątyni pogańskiej, która przemienioną została na kościół chrześcijański: widać w niej krzyż, widać chrzcielnicę, słychać pieśnie nabożne wśród dźwięku organów, ale duch, który wieje z całości budowy, jest wcale odmienny. Chrześcijaństwo w naszych gimnazyach jest jakoby gotycka rozeta na doryjskiej świątyni, bo uczeń słyszy w nich przeważnie zachwycone pochwały starożytności, obeznaje się z zbytkiem i wspaniałością jej zewnętrznego życia, z jego literaturą i sztuką, tchnącemi lubieżnością i zmysłową rozkoszą, ale nigdy nie dowiaduje się o tem, iż temu zachwalanemu starożytnemu światu nie dostawało zupełnie tego wysokiego pojęcia, jakie my obecnie mamy o wartości i godności człowieka i że owocem tego niedostatecznego pojęcia było straszne niewolnictwo, a w Rzymie jeszcze straszliwsze gladyatorstwo, że przeważnie zmysłowe pojmowanie stosunku obudwóch płci do siebie było powodem niegodnego stanowiska kobiety i innych zboczeń zmysłowych w starożytności, że w ogóle na podstawie tych wszystkich stosunków wyrosła rozpaczliwość politycznego i społecznego położenia szerokich mas ludowych, z którego wyzwoliło je dopiero chrześcijaństwo.

(Ciąg dalszy nastąpi).



LITERATURA I SZTUKA.

Po młodych.

Młodości szały!
Podniebne dążenia!
Wyście — tak drżące języki płomienia
W górę strzelają po suchej topoli —
Chciały zapalić ten świat przestarzały,
Co zakamieniał przy taczce niewoli,
Waszemi sny — ideały.

Próżne marzenia,
Daremne zapały!
Topoli próchno chwycą ognia szały
I blask rozsieją płomiennemi kity;
Ten świat zgrzybiały ma czoło z kamienia,
Nieporuszony jako Alp granity —
Skała nie chwyta płomienia.

W wieków powodzi
Już pokoleń tyle
Pragnienia wielkie złożyło w mogile.
O! pamiętajcie wy, że słońce nowe
W grozie zniszczenia z nawałnic się rodzi;
Trud marny, zgniłą podpierać budowę,
Trzeba — zgruchotać ją, młodzi!

Niech legnie w pyle! —
Nowe drzewa rodzi
Las, choć mu dęby łamiąca przechodzi
Burza nad głową wśród piorunów błysku.
Spuścizna wasza — złote jutra chwile;
Hej! nad padoły, ciemnych mgieł siedlisko,
W młodzieńczej wylećcie sile!

Wam szaleć trzeba!
Wam do gwiazd ramiona,
Gdzie sił człowieczych wszechpotęga kona,
Za niepochwytnych mar wyciągać rojem!
Niewolnik ten, co rad z niewoli chleba —
Niech zginą kark — o! młodzi, wy przebojem
Rozłamcie wrzeciądze nieba!

Hej! wznieście czoło!
Hej, rozwińcie skrzydła
Ponad tej ziemi układne mamidła,
Co barw tysiącem błyskają w dolinie,
A z wyżyn jasnych, gdzie, szerokie koło
Tocząc, król ptaków po niebiosach płynie,
Nikną w tumanach padołu.

St.

Witold Pruszkowski.

(Sylwetka)

Było to w końcu lata, czy też z początkiem jesieni 1875 roku.

Wpada do mnie Maryan Gawalewicz i mówi: wiesz jest dobry interes do zrobienie. Kleczewski*) wyjeżdża z Krakowa i chce na gwałt sprzedać „Djabła". Możesz go nabyć bardzo tanio i podnieść. Z pismem już się zżył Kraków, więc powodzenie jego prawie zapewnione. Oprócz „Szkiców**) będziesz miał drugą broń w ręku.

*) Arkadyusz Kleczewski, redaktor „Kuryera Świątecznego" w Warszawie, ożeniony z prawosławną, emigrował z Królestwa, aby dzieci wychować w religii katolickiej. Założył i redagował „Djabła" w Krakowie. Zmarł we Lwowie przed kilku laty.

**) „Szkice społeczne i literackie" wychodziły moim nakładem i pod moją redakcyą od 1 stycznia 1875 do 1 lipca 1876. Było to wówczas jedyne pismo w Krakowie, nie zarażone stańczykostwem. Choć prowadzone w kierunku umiarkowanym — wobec jednak wszechwładzy skrajno-konserwatywnego stronnictwa, uchodziło za skrajno postępowe.

życzenie ujrzenia żywej „Afrodyty", — Eryk Brown bynajmniej nie przeczył jej istnieniu.

„Więc ona w istocie żyje?" — metaliczny głos księcia zadrżał wzruszeniem.

„Oczywiście, Ekscelencyo. — Gdybym jej nie znał, ta bogini z pianki morskiej nie wyszłaby nigdy z pod mego dłuta."

„Lecz któż ona? i gdzież się znajduje?

„Kim jest? kobietą, a raczej dzieckiem uroczem, nie posiadającem nic, prócz łachmanów i tej boskiej piękności. Potknąłem o nią pewnego wieczora na schodach. Tam bowiem usnęła, szukając ochrony przed deszczem. Sąsiad mówił mi, że uciekła przed macochą, i wolała raczej umrzeć, niż do niej powrócić — a więc wziąłem ją do siebie."

„Ona tu?!"

„Ma się rozumieć, Ekscelencyo. Czy Jego ks. Mość pragnęłaby ją zobaczyć? — Rosa? — Rosa! — Otóż i ona.

Urocza główka, otoczona aureolą złotych loków ukazała się we drzwiach — lecz w tej samej chwili znikła.

„Ona taka nieśmiała, rzekł Eryk — sam po nią pójdę."

Artysta wybiegł, a Ekscelencya patrzał niecierpliwie na drzwi, rychło ukaże się w nich złota główka dziewczęcia. W przyległym pokoju słyszał przytłumiony głos artysty, płaczliwą odpowiedź Rosy... — i weszli.

„Ona się boi, Ekscelencyo. — Bądźże rozsądną, Roso! Nic ci się nie stanie." — i śmiejąc się, pociągnął zmieszane dziewczę pod wielkie okno. — Otóż „Afrodyta."

Książę Wernikoff skłonił głowę przed dzieweczką, jak przed damą swego świata. Podprowadził ją do wielkiego fotelu i prawie nieśmiało dziękował za wyświadczoną łaskę. Eryk spoglądał zdumiony, widząc jego zachowanie pełne szacunku wobec tego zakłopotanego, płaczącego niemal dziecka. Jedynie powaga księcia i zachwyt, malujący się w jego oczach powstrzymywał go od szczerego śmiechu. Wernikoff nie mógł bowiem oderwać wzroku od uroczego zjawiska. A gdy Rosa pod zmyślonym pretekstem opuściła pokój, dumny Moskal zwrócił się z wyniosłem spojrzeniem ku artyście, mówiąc: „Zabieram ją z sobą."

Na te słowa zbudziło się coś, co drzemało dotychczas na dnie serca młodzieńca. „Rosa? mój model?!"

„Pardon, nie model. Gdym kupował „Afrodytę" przyrzekłeś Pan, nigdy nie odtwarzać kopii. Ja sam chcę ją posiadać! Słyszysz, Pan? — Nikt nie jest godzien i nie odważy się z pewnością rywalizować z księciem Wernikoff. Dziewczę podoba mi się niezwykle, — a więc zabieram ją do Petersburga."

„Nie, Ekscelencyo, tego nie zrobisz?"

— Książę patrzał na niego zdumiony, z szyderczym uśmiechem na ustach: „Powiedziałem — a więc tak być musi."

„Myślę, Ekscelencyo, że ani Pan, ani ja nie mamy prawa rozporządzać jej losem. Wybacz, Ekscelencyo, byłby to gwałt, niczem nieusprawiedliwiony. Jestem pewien, że Rosa nigdy nie zgodzi się na propozycyę Jego ks. Mości"

Lecz w chwili, gdy to mówił, jakaś niewytłomaczona bojaźń wkradła mu się do serca. Z obawą pomyślał, że może przyjdzie mu się rozstać z tą czarującą istotą, że jej nie zobaczy, że już nie usłyszy jej rozkosznego szczebiotu i srebrnego śmiechu. Bo i cóż mógł jej ofiarować? Garść łakoci — w zamian za przykre, dotkliwe słowa. Czemużby propozycya księcia nie miała jej przypaść do gustu?

Twarz księcia pokryła się lekkim rumieńcem — górna warga zadrżała — a lśniące zęby i stalowe oczy zabłysły hamowanym gniewem. „Mniemam, rzekł wyniośle, że pańska „Afrodis" nie odrzuci nazwiska i ręki ks. Wernikoff,

Eryk skamieniał. Uczuł naraz dotkliwy ból w sercu i zamęt w głowie.

„Ekscelencyo! — —"

„Zrobiłbyś mi Pan wielką przysługę, uprzedzając ją o zmianie, mającej nastąpić w jej losie. Ona uważa Pana za przyjaciela — a więc, proszę, bądź mi swatem."

Skinął mu niedbale i wyszedł. Po jego odejściu Eryk długo dumał, zapatrzany w pierwszy szkic „Afrodyty." Tak się przyzwyczaił do obecności dziewczęcia, że i przypuścić nie mógł,

Niebardzo mi ta propozycya przypadła do gustu. Zgodziłem się na nią jedynie ze względu na Gawalewicza, który sądził, że „Djabeł“ ułatwi mu egzystencyą. Piórem jeszcze wówczas nie zarabiał, żył z korepetycyi, a życie to niezbyt wesołe, zwłaszcza gdy się samemu jeszcze trzeba uczyć i myśleć o egzaminach...

— Wszystko to pięknie, mój Maryanie, — rzekłem, — ale pomyśl sobie, że mając na głowie „Szkice, nie mogę się oddać „Djabłu“ jakby należało...

— Ja cię we wszystkiem będę wyręczał. Czynność administracyjną biorę na siebie — napiszesz co dwa tygodnie kilkadziesiąt wierszy i na tem koniec twego zajęcia. Byłem już u Bałuckiego i Sabowskiego — obaj przyrzekli współpracownictwo...“

— A któż będzie nam rysował?

— I o tem już pomyślałem. Idę zaraz do Szkoły Sztuk pięknych dla porozumienia się z Picardem. Obiecał mi sam rysować i namówi do rysowania, którego ze swoich kolegów...

Nabyłem więc „Djabła“. Różowe jednak nadzieje Gawalewicza nie sprawdziły się. Po kilku miesiącach opuścił on Kraków i Technikę, na którą uczęszczał, wezwany przez Szymanowskiego do „Kuryera Warszawskiego“. Cały ciężar redakcyjny i administracyjny spadł wyłącznie na moje barki. Dostarczanie humoru na termin sprzykrzyło mi się, zwłaszcza, iż lgnąłem więcej do „Szkiców“, dla których czułem coś w rodzaju miłości rodzicielskiej. Kłopoty z administracyą, która bardzo umiejętnie prowadziła rubrykę wydatków, a pieczołowicie ukrywała dochody, dopełniły miary niezadowolenia. To też z niekłamaną radością powitałem propozycyą odstąpienia „Djabła“ i zakończyłem mój pierwszy dłuższy bieg z przeszkodami na torze humorystyki.

Z czasów redagowania „Djabła“ pozostało mi tylko jedno przyjemne wspomnienie. Dzięki mu zapoznałem się z Witołdem Pruszkowskim, który z L. Picardem prowadził przez kilka miesięcy część illustracyjną pisma. Rysunki, wychodzące z pod jego ołówka, a raczej pióra, choć lekko, szkicowo, rzucone były na papier, choć brakowało im wykończenia, którego zresztą od takich rysunków się nie wymaga, choć często były niemiłosiernie „puszczane“, a profanom wydawały się „habrotami“, miały jednak tyle w sobie charakterystyki, tyle humoru, tyle artystycznego rozmachu, iż gdzieindziej zwróciłyby odrazu uwagę na niepospolity talent rysownika.

Jeden zwłaszcza rysunek stoi mi wyraźnie w pamięci. Pisano i mówiono wówczas wiele o kandydatach na namiestnika po śmierci Gołuchowskiego. Wyliczano różne nazwiska, mniej lub więcej wybitne. Prosiłem więc Pruszkowskiego, aby narysował Galicyę jako przekupkę, mającą różny towar do wyboru. Pruszkowski ustawił za straganem babę, sprzedającą jarzyny; leżały na straganie głowy kapusty, brukwie, dynie, ogórki. Formy ich przypominały rysy kandydatów. Najświetniejszą była kapusta: liście jej tak się ułożyły, że dawały doskonały portret pewnej osobistości, marzącej o fotelu namiestnika. Na pierwszy rzut oka nikt tego nie dostrzegł, ale wpatrzywszy się, widziałeś nietylko twarz, ale odczuwałeś i wady człowieka: zbyt wielką pewność siebie, napuszoność, arogancyę. Drobnemi środkami wykonał rysownik prawdziwą satyrę.

A nie wyglądał on bynajmniej na satyryka. Był to w jednej osobie typ ładnego panicza, a zarazem tęgiego kozaka. Twarz o regularnych i delikatnych rysach, włosy krótko strzyżone, układające się w grzywkę nad czołem, ładne blond wąsiki, półuśmiech prawie nigdy nie schodzący z oblicza, oczy pełne głębokiego wyrazu z pewnym melancholicznym odcieniem, głos ładny, dźwięczny, ale nie mogący zmusić do posłuszeństwa litery *r* z francuzka wymawianej, — oto były części składowe panicza. Ale skojarzyły się z niemi czerstwość twarzy, żywość ruchów, zamaszystość całej postaci. Już wobec tego znikał panicz, a nie zostawało z niego prawie śladu, kiedyś rzucił okiem na wysokie buty młodego artysty, na jego burkę z kozacka przykrojoną, na pas skórzany i barankową czapkę. Widziałeś wtedy przed sobą mołojca, który jakby świeżo zeskoczył ze „szybkiego konia“, na którym „rozigrawszy myśli używał swobody i z wiatrem ukraińskim puszczał się w zawody“. To też Witold Pruszkowski wśród kolegów i przyjaciół nie był ani Witoldem, ani Pruszkowskim, lecz kozakiem. I to nietylko na gruncie krakowskim, ale jeszcze w Monachium. „Widziałem kozaka — byłem w pracowni kozaka — a niech go djabli, jak ta bestya kozak maluje!“ — tak się zawsze mówiło pomiędzy „swoimi“.

I choć rubaszne, dobre było to określenie: niech go djabli, jak ta bestya kozak maluje! W ustach kolegów było ono wyrazem i pewnej zazdrości i najwyższej pochwały. Każdy nowy obraz, pojawiający się na wystawie, jest zawsze pomiędzy malarzami przedmiotem sporów: jednym się podoba, drudzy z armat krytyki do niego strzelają. I obrazy Pruszkowskiego wywoływały rozmaitość zdań i uwag, ale zawsze kończyło się na owem: niech go djabli! Jeden widział błędy rysunkowe, drugi nie zachwycał się tem a tem, trzeciego drażnił zbytni realizmu, czwarty zarzucał brak wykończenia, ale bądź co bądź, wszyscy zgadzali się na jedno: niech go djabli! Benedyktowicz dodawał jeszcze! „pycha“.

„Pycha“ Benedyktowicza miała już swoją przeszłość i swoje uzasadnienie. Kolegował on z Pruszkowskim w Monachium, przypatrywał się przeto jego początkom, śledził jego postęp, widział jak się rozwijał jego talent, był świadkiem pierwszych jego sukcesów. Pruszkowski przybył do Monachium z Paryża, gdzie pierwszym jego nauczycielem rysunków był Tadeusz Górecki, zięć Mickiewicza. Uczył się naprzód pod kierunkiem Struchubera i Anschuetza. Ten ostatni, kierownik oddziału rysunków węglem z natury, zachwycony był swoim uczniem; rysunki jego wieszał jako wzory w swojej sali wykładowej, mówił, że prostotą środków przypominają mu dawną świetną szkołę malarską. To też na wystawach szkólnych co każde półrocze brał Pruszkowski medal za medalem. Na kurs malarstwa zapisał się do prof. Wagnera. Pierwszemi jego studyami były typy żołnierzy bawarskich.

Dość czasu upłynęło zanim wszedł w stosunki koleżańskie z młodzieżą polską, studiującą w Monachium. Urodzony w Odessie, gdzie mieszkał do 14 roku życia, przebywający następnie z rodzicami stale w Paryżu, mało miał styczności z rodakami i nie był wogóle przyzwyczajony do życia koleżeńskiego. Potrzebę jego odczuwał, ale nie wiedział jak się wziąć do tego...

Należał do uczniów pilnych, a jako taki w porozumieniu z bedelem zostawał często w szkole podczas godzin południowych, kiedy nie było wykładów. Bedel zamykał sale, a Pruszkowski pracował nad studyami. Podobna pilność napadała czasem i Benedyktowicza. Zdarzyło się więc raz, iż obaj byli zamknięci, każdy w innej sali — drzwi jednak między salami były otwarte. Obaj się mieli za niemców i nie zbliżali do siebie. Benedyktowicz nie zwracając uwagi na „niemczurę“ zanucił sobie głośno piosnkę Komorowskiego:

„W dzikim stepie zawierucha.. “

Pruszkowski zjawił się w progu „To kolega Polak?“ — zawołał z radością. Zaznajomiwszy się z Benedyktowiczem, wszedł w grono Polaków, a piosenka Komorowskiego jest mu do dziś dnia nad wszystkie ulubioną.

Benedyktowicz opowiada dość ciekawy szczegół monachijski do charakterystyki Pruszkowskiego, tyczący się radykalnej przemiany jego pojęć estetycznych. Ojciec Pruszkowskiego, człowiek zamożny i wykształcony, przebywał za młodu w towarzystwie ludzi, uwielbiających klasycyzm i niechcących uznać zwycięstwa romantyzmu. Wrażliwy jego umysł nasiąkł temi po-

---

by ktoś śmiał mu wydrzeć ukochaną Rosę. Uważał ją za swoją własność, a jednak przyznał przed chwilą, że nie miał prawa rozrządzać jej losem. — Księżna Wernikoff — Ekscelencya. — nie, tego nie odrzuci. Stroić się będzie w perły, które namiętnie lubi — toż to ozdoba godna „Afrodyty.“ Będzie najpiękniejszą kobietą petersburskiej elity — i zadowolni w zupełności ambicyę księcia-małżonka. Serdeczni przyjaciele dostąpią zaszczytu oglądania „Afrodyty“ — przy tej sposobności dowiedzą się może o nazwisku artysty. Otrzyma wtenczas wiele zamówień — a zadowolni to może ambicyę niejednej pięknej damy, gdy umieści w swym buduarze własny posąg — dzieło jego dłuta. A Rosa — nie, — Jej książęca Mość — wspomni go czasem w murach wspaniałych pałaców. Snem będzie dla niej ów czas ich krótkiej przyjaźni, gdy nieraz głód jej dokuczał, a lada błyskotka sprawiała jej szczerą, prawdziwie dziecinną radość. Być może, iż jej już nigdy nie zobaczy — otoczona rojem wytwornych wielbicieli, prędko przywyknie do nowego trybu życia, a wspomnienie biednego artysty, niebawem zatrze się w jej pamięci. Westchnął cicho i zwolna się udał do przyległego pokoju. Był bardzo blady, gdy stanąwszy przed Rosą pomyślał, że uszczęśliwić drugiego ofiarą własnego szczęścia — to jednak rzecz bardzo trudna. Ona siedziała przy oknie z główką, lekko pochyloną na poręczy krzesła. Powitała go uśmiechem, nie patrząc mu w twarz, lecz na ochrypły dźwięk jego głosu zerwała się wystraszona.

„Usiądź! rzekł surowo, mam ci coś do powiedzenia.“

Usłuchała natychmiast, jak dziecko, które zasłużyło na karę. Przyszło jej bowiem na myśl, jak dziką była wobec obcego pana. Bo jakżeż gniewnie wyglądał Eryk! jak groźnie zbliżał się ku niej — inaczej, jak zwykle — z marsem na czole, nie z uśmiechem i pieszczotą. Oczy dziewczęcia napełniły się łzami, usteczka zadrżały. — „Proszę, nie gniewaj się Pan, — już się będę starała... —“

Spoglądał na nią zdumiony — wskazał jej fotel i sam ceremonialnie usiadł naprzeciw.

„Chciałem bowiem, Roso — urwał zakłopotany — słowa uwięzły mu w gardle. Jej smutna twarzyczka tak go oczarowała, że już nie myślał o przedmiocie rozmowy. Nie mógł oderwać wzroku od tej wymarzonej bogini i sprawiało mu to tajemną, nieopisaną rozkosz, widząc, że twarzyczka jej coraz ciemniejszym pokrywała się rumieńcem, — że jedwabne rzęsy opuściły się na jej gwiaździste oczy. Nie wiedział, jak się to stało, ale pochwycił ją drżącą w ramiona, pokrywając namiętnemi pocałunkami jej boskie usta i oczy. Mówił słowa bez treści i związku, — i prawie nie śmiał odychać, gdy jej ramiona oplotły nieśmiało jego szyję. — Zuchwałość szczęśliwca wstąpiła w niego — osunęła się z jego ramion — a on ukląkł, jak przed bóstwem.

„Roso! — Afrodyto! — Ty wcielenie miłości i piękna, czy chcesz być mą żoną?“

Myślała, że to sen.

„Pozostać przy mnie na wieki, osładzać mi życie, — czy chcesz?“

Skinęła, ukrywając główkę w jego ramionach.

Gdy Ekscelencya stawił się wieczorem po swą, jak mniemał, własność, powitała go czarującym ukłonem; zarumieniła się jak dzika różyczka, lecz w oczach jej migotały błyskawice szczęścia.

„Nie mogę iść z Panem — rzekła — oto mój narzeczony!“

Jego Ekscelencya niedbale złożył jej życzenia szczęścia, Eryka zaś zmierzył lodowatem spojrzeniem, — a biedne dziewczę pojąć nie mogło, że dumny magnat nie dzielił jej szczęścia.

— Szkoda jej, pomyślał Wernikoff, udając się w godzinę później na *five o'clock* do hrabiny R.

Nazajutrz zaś posłał jej w darze posąg „Afrodyty.“

jęciami i zachował cześć dla zwyciężonych. Osiński był dla niego bożyszczem, tłomaczenie Iliady Dmochowskiego arcydziełem, rozpływał się nad „Ziemiaństwem“ Koźmiana, a utwory Greków i Rzymian były dla niego ostatnim wyrazem piękna. Wpływ ojca na syna musiał być silny, kiedy Pruszkowski z ironią wyrażał się o romantyźmie, miał odwagę przyznawać się, że nietylko nie zna utworów największych jego przedstawicieli, ale nawet nie jest ich ciekawy. Dokuczali mu więc koledzy monachijscy, docinali, nazywali go antykiem, wykopaliskiem z czasów przedchrześciańskich. Ale ta ciągła walka na słowa, dowcipy i ucinki, zrobiła swoje. Pruszkowski postanowił zapoznać się z tymi, których lekceważył, aby lepiej odparować cięcia koleżeńskie. Wziął się więc do czytania „Pana Tadeusza“. Zaczął go czytać z uprzedzeniem, czytał dalej ze spokojem, później z przyjemnością, w końcu z zapałem z uwielbieniem, z zachwytem, ze łzami. Nie jadł, nie spał, nie rozbierał się nawet, a czytał. W jednym dniu porzucił starych bogów i ukląkł przed nowymi. Przez parę tygodni oderwał się od pracy i rozpoczął kwerendę po kolegach za utworami poetów plejady Mickiewiczowskiej. Najwięcej rozkochał się w Słowackim, a miłości tej dawał wciąż wyraz w czasie całego swego artystycznego zawodu. Z czterech jego ostatnich pasteli, które mu na wystawie lwowskiej zdobyły najwyższą nagrodę, dyplom honorowy, dwie są illustracyami Anhellego, a trzecia jest w bliskiem z nim pokrewieństwie, bo przedstawia pochód na Sybir...

* * *

Świetne rozpoczęły się czasy dla krakowskiej szkoły malarskiej z chwilą zapisania się do niej Pruszkowskiego. Była ona niedawno zorganizowana, a więc choć w jej planie istniał na papierze oddział kompozycyjny, nie mógł wejść w życie, bo młodzież jeszcze nie przeszła wszystkich kursów. Był więc oddział kompozycyjny i nie było go. Kilku ukończonych malarzy, którzy w tym czasie zjechali do Krakowa, postanowiło dać przykład innym i naradziwszy się z sobą, poszli do Matejki z prośbą, aby mogli zostać jego uczniami. Malarzami tymi byli: ukończony uczeń akademii wiedeńskiej Bronisław Abramowicz i ukończeni Monachijczycy: Ludomir Benedyktowicz, Hipolit Lipiński, Leon Picard, Witold Piwnicki i Pruszkowski. Kiedy przy zapisywaniu się każdy z nich dla formy przyniósł kilka swoich studyów, Matejko przeglądając je, zwrócił się do profesorów Cynka i Szynalewskiego, mówiąc: „Chodźcie panowie, a zobaczycie tak piękne studya, jakich zapewne oddawna nie widzieliście“. I pokazywał im studya Pruszkowskiego, powtarzając: co za talent, co za talent!

Szkoła malarska krakowska nie miała jeszcze wówczas, tak jak dziś, swej własnej, pańskiej na oko siedziby, lecz zamieszkiwała „kątem“, częścią w gmachu Instytutu technicznego, częścią w przytykającym do niego budynku uniwersyteckim, mieszczącym w sobie laboratorya chemiczne. Ale sprawdzało się tutaj przysłowie o tej sukni, którą zdobi sam człowiek. Skromna, nie mająca własnego dachu nad sobą, rozlewała szkoła krakowska przez lat kilka silny blask w około, dzięki swoim uczniom i swemu dyrektorowi. Sława Matejki, jako artysty, była wówczas wielka, może największą, bo promieniami jej były: „Kazania Skargi“, „Rejtan“ i „Unia“, a wszystko, co później genialny malarz stworzył, utrwalało tę sławę, ale już jej podnieść nie mogło. Wady zaś Matejki jako dyrektora, nie były jeszcze wówczas znane, a więc nie stronił od szkoły krakowskiej żaden większy talent, nie uciekali uczniowie z niższych kursów za granicę, owszem, za przykładem wyżej wymienionych, ci, co nawet ukończyli w pełni swe studya po za krajem, dążyli jeszcze z różnych stron do Krakowa, aby zdobyć sobie nazwę ucznia Matejki i przyczynić się do rozgłosu szkoły krakowskiej. Po opuszczeniu szkoły przez Pruszkowskiego i jego kolegów, widziano w oddziale kompozycyjnym nietylko takich wychowańców szkoły krakowskiej jak Malczewski, Pochwalski, Koniuszko, Hermisz, Mroczkowski ale i takich ukończonych artystów, jak Wyczołkowski, Gottlieb, Fałat, Piotrowski, Żmurko, Buchbinder. Nie wyliczam ich następców, bo litania byłaby za długą, bo łatwiej byłoby spisać tych dziś znanych artystów, co nie byli w szkole krakowskiej za jej najlepszych czasów, t. j, w dziesięcioleciu między 1875 a 1885 rokiem.

Oddział kompozycyjny, za czasów Pruszkowskiego zajmował kilka sal na drugiem piętrze owego gmachu, mieszczącego w sobie uniwersyteckie laboratorya chemiczne, obok pracowni samego Matejki, zajętego wówczas malowaniem „Grunwaldu“. Pierwszą wadę Matejki, jako kierownika tego oddziału, odkryto zaraz na wstępie. Wielki malarz historyczny pragnął wszystkich porobić historycznymi malarzami, nie umiał ocenić natchnienia w innym kierunku. Kto sobie przypomina pracownie oddziału kompozycyjnego z owych, a nawet późniejszych czasów, ten potwierdzi, iż w każdej z nich prawie leżały stare zbroje, siodła husarskie, skóry tygrysie, buńczuki, lite pasy... Była to po prostu epidemia, której jedni padali ofiarą, a drudzy przychodzili dopiero do zdrowia w lecznicach monachijskich i paryzkich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

K. Bartoszewicz.

Piśmiennictwo naukowe i pseudonaukowe.

Löher. *Kulturgeschichte der Deutschen im Mittelalter.* 2 tomy. Muenchen 1891—1892 (str. 531, XI; 484, VI).

Autor oszczędza czytelnikowi pracy w szukaniu powodów, jakie zniewoliły go do napisania niewiadomo której z rzędu „Kulturgeschichte“ narodu niemieckiego, bo tłomaczy je nam na wstępie samym. Mimo to jednak po przeczytaniu dwu bardzo lekko, wcale nie po niemiecku, pisanych tomów — czytelnik przekonanym nie będzie o słuszności jego zapatrywań. „Co znaczy kultura? Kto potrafi określić ją całkowicie i ściśle? Dzieje rozwoju ludzkiego i ducha, dzieje rosnącego wciąż opanowywania sił przyrody, dzieje wykształcenia powszechnego, — wszystko to jest właściwem, o ile się rozpatruje dzieje rozwoju człowieka w ogóle, ale nie dzieje pewnego narodu. Tutaj praca taka obejmuje wszystko, całkowitą działalność społeczeństwa, prawa i państwa, religią, sztukę, literaturę i naukę, wyjąwszy wojnę i politykę zewnętrzną — a i te ostatnie nawet brakować nie powinny o ile wpłynęły na wewnętrzny lub zewnętrzny rozwój narodu... Przy budowaniu podobnego dzieła należałoby rozpocząć od naturalnego i koniecznego, od tego mianowicie, jak dany naród zdobywał pokarm, odzienie, mieszkanie, jak zaczął uprawiać rolę, rzemiosła, handel, jak przyswajał sobie podobne zdobycze u innych bardziej posuniętych pod względem cywilizacyjnym ludów, z jakich podstaw wyrosła obyczajowość, język, religia i prawo, jak wytworzyły się i ukształtowały rodzina, gmina i państwo... Prawdziwe dzieje kultury powinny mieścić w sobie wszystkie te składniki, ale w jednym szerokim prądzie, budując na nim pojedyńcze strony życia narodowego i rezultaty jego twórczej pracy.“ (p. III—IV). Ostatecznie zgodzić się można z autorem na plan podobny, lubo jest on tylko zewnętrznym powierzchownym szematem, który zakryć może i arcydzieło i pracę monachijskiego archiwisty. Nawet tyle ważna kwestya, jak kwestya metody, dotknięta w nim nie została. Ale już na dalsze wnioski przedmowy zgodzić się nie można. Jeżeli bowiem czytamy w dalszym ciągu: „oczywiście zamiast trzech, należałoby napisać trzydzieści tomów; nigdy zaś nie mógłby ich napisać jeden człowiek — lecz trzydziestu, każdy obejmując jeden dział specyalny itd.“ — to protestujemy już nietylko dla tego, że w tym wypadku otrzymalibyśmy albo (w gorszym wypadku) niemożliwie wielką encyklopedyę, albo (w najlepszym wypadku) szereg oddzielnie pisanych monografii na specyalnie ad hoc ułożone tematy. „Historya umiejętności w Niemczech“, wydawana przez akadamię bawarską, jest podobnem przdsięwzięciem naukowem na szeroką założonem skalę. Ani w jednym, ani w drugim wypadku nie otrzymamy dziejów kultury, bo zatracimy oczywiście tę nić rozwoju, która łączy w harmonijną, organiczną całość ogniwa faktycznych zdobyczy w dziedzinie myśli i czynu, zatracimy świadomość owego indukcyjnego prądu, który zdobyczom owym nadaje cechy istotnego życia i ratuje je od skostniałego, od antykwarskiego katalogu, od lamusa historyi. Historya kultury nie wymaga ani współdziałania trzydziestu ludzi, ani trzydziestu tomów. Dwa tylko tomy obejmują „Dzieje kultury“ Lipperta — a niektóre, konieczne rozdziały wyjąwszy, jako słabsze, mają istotną i trwałą wartość w literaturze socyologicznej naszych czasów.

Wprowadziwszy do szematu swego poprawkę, ograniczył autor zadanie swe do przedstawienia „sposobu myślenia, rezultatów pracy naukowej, znaczenia prawa.“ Szczególne znaczenie przypisuje ostatniemu „prawo bowiem w państwie i w kościele, między sąsiadami, towarzyszami i krewnymi, prawo tyczące się nieruchomej i ruchomej własności jest, jak gdyby szkieletem dziejów kultury; za prawo chwyta każda reforma, dzięki prawu i przez prawo bywa najlepiej określoną i zrozumianą.“ Czy i to nie budzi wątpliwości? A skądże bierze swe powstanie prawo? Kiedy powstaje, albo ginie, czy jest wiecznem, niezmiennem, albo też zawsze zmiennem, ruchomem? I tutaj zdaje się należałoby historykowi kultury wejrzeć głębiej w strukturę społecznej budowy.

Zadanie autora w pojęciu jego rozpada się na trzy części. W pierwszej ma do czynienia z Germanami, jako takimi, z owym, jak chce silnie wybitnym, całe życie przenikającym na wskroś typem ludzkim („das tiefeingewurzelte Germanenthum“), o samoistnej kulturze, o oryginalnym światopoglądzie. W drugiej rozpatruje epokę frankońską — czasy, gdzie i kiedy ów wybitnie określony typ narodowo-społeczny przejmuje kulturę antyczną i chrystyanizm. Trzecia część obejmuje czasy rozkwitu miast, epokę, kędy wytwarzają się nowe podstawy dla istnienia i urządzenia państwa. Trzy części wymienione powiększają się jeszcze o dwie pośrednie: pomiędzy pierwszą i drugą przypada epoka wędrówki narodów, która nie pozostaje bez wielkiego wpływu na narody i plemiona germańskie; dwie drugie dzieli epoka niemieckich cesarzy, za których „dojrzewają ideały narodu“. Takie oto ramy zbudował sobie Löher dla obrazu swego. W nich wedle zakomunikowanego już powyżej planu, umieścił rozbitą na mnóstwo niewielkich rozdziałów (w pierwszym tomie 42, w drugim 38) treść życia średniowiecza niemieckiego. Referat o książce nie powinien stale oszczędzać czytelnikowi pracy odczytania jej: powinien albo zachęcić do tego, albo odstraszyć. Otóż zachęcać do pójścia śladami recenzenta nie mam poprostu odwagi. Można o kompetencyi swej jak najskromniejsze żywić mniemanie i mimo to z łatwością zauważyć, jak książki Löhera na wysokości zadania swego nie stoją, z rezultatami wiedzy historycznej się nie liczą. Jeżeli rozpatrzymy np. bardziej drobiazgowo rozdziały o ustroju rodzinnym u germanów, to bardzo szybko ignorancyę autora skonstatować będziemy mogli. Autor nie wie poprostu, co zdziałano w tym kierunku w ostatnich latach we własnej jego ojczyźnie, jakie nowe zupełnie widnokręgi otwarte zostały dla historyi niemieckiej. Czynią te rozdziały niekiedy wrażenie takie, jak gdyby długie lata czekały bez przeróbek na wydawcę. Jest to tem gorsze, że dzieło obliczone jest przedewszystkiem dla szerszej publiczności, która w tej formie najlepiej z ostatniemi zdobyczami nauki zaznajomićby się

mogła, a tymczasem zamiast istotnej wiedzy, otrzymuje luźne, często nawet źle dobrane notaty ze źródeł prawniczych lub historycznych. Nie chcielibyśmy czynić autorowi zarzutów z tego, że wyrzucił z dzieła swego odsyłacze do źródeł, z których korzystał, gdyż w książce popularnie pisanej nie szukamy aparatu uczonego. Sądzimy jednak, że od książki podobnej wymagać można, ażeby była ścislejszą, chociaż lekko pisaną. Gdyby autor mógł zrozumieć całą doniosłość prac Lamprechta i jego znakomitą, także dla szerszych kół obliczoną „Historyą niemiecką“ (dzisiaj 3 tomy, będzie 7), która w pojedyńczych tylko rozdziałach rozpatruje zjawiska kultury, to uznałby może nieudolność własnego dzieła. Jestto rzecz w literaturze zupełnie chybiona i zbyteczna.

Możnaby zapytać słusznie: — jeżeli tak, po cóż o niej pisać, i do tego u nas, którym tylko na wybitnych pracach Zachodu zależeć może? Zapewne. Zadając to pytanie, tem samem daję dowód, żem je samsobie zadawał. Są jednak powody poważne, dla których sądziłem, że pisać można. My (i to nie tylko my obecnie) posiadamy pewną bardzo zresztą szlachetną słabostkę do wszelkich „dziejów kultury“. Badaczy specyalistów posiadamy mało, a więc i świadomości dobrego i złego mieć nie możemy w stopniu dla oceny koniecznym. Często też owa sympatya dla prac „kulturalnych“ obraca się w czyn. Tłomaczymy byle co, z warunkiem, ażeby nazwisko autora nie było nieznane. Kiedy więc nazwisk uczonych zna się niewiele w tym sensie, że się ocenić umie, co ważą — wszystkie są jednakowo znane i wartościowe. Tłomaczymy wtedy prace takie, jak Leixnera, albo Karpelesa — niewiadomo dlaczego, niewiadomo poco. W literaturach, gdzie ruch podobnego misyonarstwa kulturalnego jest rozwinięty silnie (chociażby w Rosyi, gdzie tłomaczą prawie wszystko, co przychodzi ze Zachodu)nic to nie szkodzi, że obok pełnych ziaren napotkamy i plewy, Ale tam, gdzie jak u nas i w tym kierunku „twórczość“ kupiecko-wydawnicza ograniczać się musi budżetem najoszczędniejszego drobnomieszczanina — należy być ostrożniejszym w wyborze dzieł i uznawaniu za autorytety nazwisk, które oprócz spekulacyjnych pomysłów nie wydają nic, albo prawie tyle. Dla tego też sądziliśmy, że nie będzie zbytecznem zwrócić uwagę czytelników naszych na pracę Löhera.

Löher już nie żyje. Był dyrektorem archiwum monachijskiego, podróżnikiem i poetą. W żadnej jednak z tych dziedzin nazwiska nie zostawił. Czy zostawił przynajmniej przyjaciół — nie wiemy. Feliks Dahn we „Wspomnieniach“ swoich wyraża się o nim z wielkiemi zastrzeżeniami. Gdy zanurzył się, ażeby nie wypłynąć więcej, w Styksie zapomnienia, nie ukazało się na powierzchni wody żadne koło, — któreby stratę zaznaczyć mogło. W znakomitej „Deutsche Zeitschrift fuer Geschichtswissenschaft“ znalazłem krótką o nim wzmiankę pośmiertną, gdzie czytelnik tytuły dzieł i poematów Löhera odczytać może (r. 1892). Dat biograficznych nie przytaczam, gdyż nie zaliczam do obowiązków recenzenta oszczędzanie czytelnikowi czasu potrzebnego do odszukania odnośnej pozycyi w nowej encyklopedyi Meyera.*) *S. P.*

*) Kiedy recenzya powyższa była już napisaną, katalogi bibliograficzne pierwsze przyniosły wiadomość o mającym się ukazać 8 tomie „Dziejów kultury niemieckiej“. Pojedyńcze rozdziały tej pracy pośmiertnej były drukowane poprzednio w pismach peryodycznych — i stwierdzają tylko nasz wyżej wymieniony pogląd. Zresztą chodziło nam o stanowisko autora ogólne, socyologiczne i filozoficzne więcej, aniżeli o wypełnienie konturów ogólnego tematu materyałem faktycznym. I dla tego też recenzya tomu ostatniego staje się zbyteczna.

Raul Toché.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Szumowiny paryzkiego życia pochłonęły świeżo nową ofiarę. Raul Toché, jeden z najpopularniejszych wodewilistów, przeciął pasmo dni swoich, chroniąc się w tajemnicze au del przed ruiną materyalną i moralną. A jednak zdawałoby się, że fortuna wszystkiemi darami obsypała swego ulubieńca.

Toché odziedziczył po ojcu piękną majętność Croissy, oraz 800,000 franków, przytem matka-nutura dała mu talent, który, oprócz popularności i sławy, przynosił przeszło 50,000 franków rocznego dochodu. Co prawda, czarnym punktem jego życia była „czarna“ żona, córka dyplomaty wysp Antylskich, która chłonęła w siebie życie europejskie z iście podzwrotnikowym temperamentem.

Państwo Toché prowadzili w zamku własnym iście królewskie train. Bajeczny przepych, „nadzwyczajne“ uczty i zabawy, ściągały tu ustawicznie tłumy wykwintnych gości. Samo towarzystwo gospodarza mogłoby stanowić siłę dostatecznie przyciągającą. Był to jeden z najdowcipniejszych ludzi we Francyi, posiadał humor i iskrzącą werwę galijską bez cienia złośliwości. Jego bon mots pobudzały do śmiechu najczarniej usposobionych hypohondryków. Nic też dziwnego, że feljetony i kroniki w pismach: „Echo“, „Gazette“, „Voltaire“, „Clairon“ były rozrywane. Największe tryumfy zyskiwały jednak doroczne „revues“ do spółki z Blum'em pisane, oraz szereg uciesznych wodewilow jak: „Pani Szatan“, „Zapach“, „Śmieszka“, „Paryż w końcu wieku“ i t. p. Toché, pomimo znacznych tantyem i dochodów nie mógł „związać końca z końcem“. Szalona żądza używania, gorączka złota i wymagania nadmierne żony, bawiącej się bez pamięci, skierowały go na drogę ryzykownych spekulacyi. Grał na giełdzie, tracił, zaciągał pożyczki, rujnował się lichwiarskiemi procentami, zastawiał przyszłą spuściznę synka dziewięcioletniego jedynaka, a stoczywszy się raz w pochyłość mętnych spraw, brnął coraz dalej i padł w końcu ofiarą szajki łotrów, która wyłudziła odeń fałszywe podpisy. Ostatnie lata były (według zwierzeń, pozostawionych w pośmiertnych papierach) mękami Tantala, szarpał się z wierzycielami, przed żoną ukrywał widmo hańby i ruiny do ostatniej chwili. W dzień katastrofy, wyznawszy wszystko po gwałtownej scenie domowej, pojechał do Chantilly i tam o godzinie pół do pierwszej w nocy, wszedł na zlodowaciały staw de la Reine, rozbił grubą powłokę i strzelił do siebie, zsuwając się równocześnie w toń wodną.

Indywidualność jego była na wskroś „paryzką“, to też i smutny epilog nadto wesołego żywota, stanowić może ilustracyę chwili, owego rozpasania egoizmu, zrywającego wszelakie moralne hamulce.

Z estrady i sceny.

Występy Heleny Modrzejewskiej.

III.

„Walkę kobiet“ wystawiła scena poznańska w sobotni wieczór. Lubię tę duchem *empire'u* owianą komedyą, gdzie ludzie, mówiąc z Pawłem de Saint Victor, są jak owe kwiaty, które soki swoje z łona natury wyssały, których kielichy jednak ręka ogrodnika przez krzyżowanie sztucznie ozdobiła. Być może, że słowa te raczej do rokokowej epoki w literaturze przystósować można, ale tchnienie tego okresu przenika jeszcze francuzką literaturę w początkach bieżącego stulecia, a mianowicie na twórczości *Scribego* piętno swoje wyciska. Romantyzm prędzej zapanował w piśmiennictwie niemieckiem niż na ziemi Francuzów, i mimo przełomowych dzieł Rousseau'a, mimo utworów Chateaubrianda, zwiastujących emancypacyę natury, długo jeszcze powiew zmodyfikowanej „Marivaudage“ snuł się po scenie francuzkiej.

Jeżeli mówię: Lubię „Walkę kobiet“ — to nie dla tego, bym owemi kwiatami o sztucznie ubarwionych kielichach pragnął zagony literatury ojczystej przystroić, ale spowiadam się z sympatyi swoich jak artysta, który w surowem pięknie Wereszczagina i Uhdego cząstkę własnej duszy odkryje i w niemym zachwycie utonie, a za chwilę z uśmiechem zadowolenia pieścić się będzie cackiem z saskiej porcelany, rzeźbą Pigalle'a lub obrazem Wattcau. Jest w literackim artyźmie owej epoki urok igrających dzieci, którym przyszło na myśl naśladować parę młodą, idącą do ślubu, jest jakaś naiwność i rafinerya, wytworność i prostota, gra w chowanego i rumieńce na licach. Wielkich namiętności tam nie ma, a jeżeli gdzieś serce żywszem tętnem zabije, to burzy miotającej duszą nie zdradzą usta milczące. Ludzie lękają się głosu natury i wtedy nawet, gdy jakieś wielkie uczucie pierś im rozpiera, mówią w półtonach, w dyskretnej a wykwintnej formie, z lekkim uśmiechem na ustach. Grom zmienia się w akord silniejszy na klawiszach fortepianu, jęk w rzewny szmer liści, gdy wiatr łagodny w nich płacze. Zdaje się, że w tym świecie elementarna siła ludzkich instynktów zamarła, i nawet w chwilach dramatycznego naprężenia nigdy w duszy czytelnika lub widza nie kłębi się uczucie strachu lub grozy.

Gdym w wieczór sobotni spoglądał na scenę poznańską, wionęła ku mnie ta dziwna atmosfera XVIII wieku, lubo „Walka kobiet“ chronologicznie do innej już należy epoki. Ci ludzie, to zawikłanie, ten dyalog — to wszystko tchnie jakąś reminiscencyą ubiegłego stulecia, *empire* zrodzone z *rococa* i nie przeniknięte jeszcze potężnie elektrycznym prądem romantyzmu. Sam pomysł nastręczał temat obfity do dramatycznych kolizyi. Młody skazaniec polityczny, zagrożony rozstrzelaniem, ukrywa się w zamku francuzkiej magnatki w przebraniu lokaja. Zjeżdża sąd i wojsko, tropią za nim przez całe dwa akty, jak ogary za jeleniem w kniei, a kochające serca kobiece czuwają nad bezpieczeństwem młodzieńca.

Ileż wstrząsających momentów wysnuć można z takiej sytuacyi, jakież naprężenie wprowadzić do utworu, w którym dwie kobiety walczą o życie ukochanego i miecz Damoklesa wisi bezustannie nad głową skazańca. A jednak ani jednej chwili uczucie strachu w duszy tu nie gości. W najdramatyczniejszych chwilach doznawałem wrażenia, jakby gdzieś z za kulis jakiś geniusz uśmiechnięty wychylał się ku publiczności i szeptał: „Nie lękajcie się! to igraszka tylko.“ Ten zbieg pląsał sobie po scenie jak flirtujący młodzik na wakacyach, te kobiety drżały wprawdzie o życie kochanka, ale w akompaniamencie wdzięcznej filuteryi i subtelnej „causerie“, ten groźny prefekt mówił do nas głośno: „Rozstrzelam zbiega,“ — lecz po cichu kończył tę groźbę: „Kulą pomadkową.“ Jakaś wytworna swoboda i wesołość króluje w całym utworze. Hrabiny d'Autreval zazdrość nie pochłania, lubo przeczuwa chwilami zwycięstwo rywalki. I ani jednej minuty nie ogarnia widza ponura atmosfera złamanego serca, w której tak lubują się późniejsi pisarze francuzcy. Zwyciężyła młoda Leonja w boju o mężczyznę, ale na myśl mi nie przyszło powiedzieć bohaterce sztuki z Hamletem: „Idź do klasztoru, hrabino d'Autreval!“ Cóż? Wyjedzie do stolicy, westchnie kilka razy w karecie, a jutro zapomni i za mąż wyjdzie, — może za markiza o zajęczem sercu. Szczęśliwa epoka! Romantyzm nas pogłębił, ale zagasił uśmiechy na ustach i głowy ludzkie pochylił.

Zrozumiała Helena Modrzejewska ducha komedyi i stanęła przed nami od stóp do głowy *empire* — empire w każdym słowie i ruchu, empire w każdym szczególe tualety i kolorycie całości. Tu właśnie, gdzie natura jeszcze nie upomniała się o prawa swoje, tu, gdzie

zwierzę ludzkie w człowieku nie odzywa się prawie nigdy, tu, gdzie finezya, elegancya, wdzięk zastępują namiętność i mroki prawdy życiowej, tu geniusz artystki naszej znalazł żywioł właściwszy dla twórczości swojej, niż w twardym realiźmie „Gniazda rodzinnego“. Nie nastręczała wprawdzie rola hrabiny d'Autreval sposobności do subtelniejszej analizy duszy ludzkiej, rozwinięcia tragicznej potęgi i wprowadzenia w ruch efektowny całego aparatu techniki scenicznej, ale odsłoniła nam artystyczne wcielenie pewnego stylu, przejęcia się duchem minionej epoki.

Jeżeli z takim naciskiem podnoszę zalety Heleny Modrzejewskiej w tym właśnie kierunku, to pragnę tem samem wyrazić, że „stylowość“ jest jednym z najrzadszych fenomenów na scenie. Dzieje się tam podobnie jak w wielu dramatach i romansach historycznych, gdzie ludzie występują w średniowiecznych zbrojach lub greckich tunikach, lecz całym zakresem swych pojęć i uczuć tkwią w najświeższych czasach. I na deskach widujemy często *rokoko* lub *empire* w tualetach i meblach, lecz ruchem, mimiką, dykcyą, całem ujęciem roli odbijają artyści od epoki owej i mimo przebrania, zdradzają ludzi nowoczesnych, świat małomiejski lub giełdę berlińską, zwiedzającą pałace Poczdamu. To też w grze Heleny Modrzejewskiej z radością powitałem charakterystyczne wcielenie minionego stylu, — witałem artyzm, który zrozumiał, że na wyżyny sztuki dramatycznej ten tylko wspina się szczęśliwie, komu nie talent jedynie, nie intuicya tylko za oparcie służy, lecz psychologja, historya i literatura nowych i dawnych okresów ludzkości.

Z prawdziwą przyjemnością zapisuję też nowy tryumf młodej artystki naszej, p. *Heleny Zimajer* w roli *Leonj*. Pomijając kilka za silnych akcentów aktu drugiego, była to kreacya o kolorach żywych a rzeźbiona dłutem lekkiem jak amorety XVIII stulecia. Za ten piękny objaw scenicznego talentu oklaskami wypowiedziała publiczność uznanie swoje, a poklask ofiarowany pannie *Zimajer* w tej samej chwili, gdy *Modrzejewska* stąpała po deskach, jest chyba najwyższą nagrodą dla artystki naszej.

Władysław Rabski.



KRONIKA KRAKOWSKA

Kraków, 29 stycznia.

Lisystrata. Nowy dyrektor Szkoły Sztuk pięknych. Miscellanea.

P. Stanisław Koźmian nienasycony jest w zdobywaniu sobie coraz innych laurów. Różnorodny jego geniusz przerzuca się z łatwością z pola na pole. Zaledwie w drugim tomie swej wiekopomnej „Rzeczy“ napisał ewangelię dla narodu, poruszając najważniejszą sprawę naszego bytu narodowego, zstąpił z kazalnicy politycznej w urocze krainy pornografii. Dzięki jemu, scena krakowska przedstawi dziś przerobioną przez niego „Lisistratę“ Arystofanesa. Jest rzeczą niemożliwą w przyzwoitych słowach opowiedzieć treść tego utworu, który był dobrym na czasy greckie, ale o dziesiątki wieków oddzielony jest od nas nietylko czasem, ale pojęciami o moralności i przyzwoitości. Nie ma tam całkiem dwuznaczników, a są tylko jednoznaczniki ordynarne, wstrętne, kwalifikujące się jedynie do opowiadania w towarzystwie mężczyzn i to po sutej kolacyi. Ale p. Koźmian lubi takie rzeczy; temu konserwatywno-katolickiemu apostołowi zamało już cuchnie rozpasana wesołość nadsekwańskiej sztuki dramatycznej. Gdyby to zrobił Zalewski, Bałucki, Lubowski, tożby krzyk zgrozy powstał w świętobliwym Krakowie! Ale p. Koźmianowi wszystko wolno: może zarówno obrzucać błotem społeczeństwo, jak zasiewać pornografią.

Opowiadano mi, że kiedy pewnej wielkiej pani pytano się, czy pójdzie na „Lisistratę“, i zwrócono delikatnie uwagę jej na treść utworu, miała w odpowiedzi tylko słowa: „Nazwisko p. Koźmiana jest dla mnie gwarancyą, że mogę iść do teatru.“ W obec takiej wiary w apostoła, nic dziwnego, iż nauki jego w pewnych sferach są przyjmowane z uwielbieniem i nie poradzi na to ów Jezuita, który oświadczył na kazaniu, iż żadna uczciwa kobieta na sztukę tę iść nie powinna. W ogóle zanosi się na to, iż p. Koźmian założy kościół o całkiem odmiennych zasadach etycznych. Świątynię ma już gotową, świeżo kosztem miasta wybudowaną, na której istniejący napis „Kraków narodowej sztuce“ będzie zamieniony na: „Wstęp tylko dla mężczyzn i kobiet doświadczonych“. Cenzura teatralna wyrzuciła wprawdzie p. Koźmianowi wiele najpiękniejszych kwiatów z „Lisistraty“, ale pozostało jeszcze sporo takich pączków, które rozwinięte pod światłem elektrycznem, wydadzą dostateczną woń dla przytępionych zmysłów lubieżników i wesołych cór Grecyi.

Może te laury wynagrodzą p. Koźmianowi kolce, po których stąpa jako mąż polityczny. Bardzo nieładnie obszedł się z nim i z jego „Rzeczą“ p. Jerzy Moszyński — radzę wam przeczytać jego broszurę, wykrywającą dobroczynną działalność p. Koźmiana w roku 1863. A kto ciekawy, niech się postara o ostatni numer „Gazety Kościelnej“ w której ks. Zbyszewski z rzadko u nas spotykającą się otwartością występuje w obronie ideałów narodowych przeciw p. Koźmianowi, nie wahając się zaznaczyć, iż ludzie tego rodzaju, co p. Koźmian, nie mają prawa dawać nauk i wyznaczać kierunku narodowi.

Nie były widocznie bez skutku skargi na opieszałe traktowanie sprawy nominacyi nowego dyrektora Szkoły Sztuk pięknych w Krakowie, z zadziwieniem bowiem wyczytaliśmy wiadomość, iż ministerstwo oświaty ma już upatrzonego kandydata i że niezadługo wyczytamy w urzędowej gazecie nazwisko nominowanego dyrektora. Ponieważ od śmierci Rodakowskiego miesiąc zaledwie upłynął, przeto ten niebywały pośpiech nietylko zadziwia, ale i dobrze wróży o przyszłości spraw innych. Prócz tego nazwisko kandydata usposabia bardzo przychylnie. Jest nim Juliusz Fałat, malarz rozgłośnej sławy, nietylko znany i uznany w kraju, ale mający niepoślednią markę po za jego granicami. Jakim się okaże na stanowisku dyrektora niepodobna z góry osądzić, ale to pewna, że, jeżeli przyjmuje posadę, to ze szczerą chęcią pracowania dla dobra szkoły. O materyalnych jego zyskach mowy być nie może, gdyż pensya przywiązana do dyrektorstwa nie zastąpi mu zapewne tych dochodów, któreby miał, poświęcając czas jedynie dla siebie. Znaliśmy go dobrze w Krakowie przed laty, kiedy już jako ukończony malarz przybył jeszcze popracować pod kierunkiem Matejki. Nadzwyczaj sympatyczny, serdeczny, szczery kolega i przyjaciel, zostawił po sobie dobrą pamięć. Laury jego nikogo nie drażniły, a pomiędzy bracią malarską dość rzadko to się zdarza. Jedynie obawiać by się można, czy wrodzona mu łagodność i uprzejmość odpowie stosunkom, wymagającym dość, zwłaszcza na początku stanowczości.

Rada miejska uchwaliła przyczynić się kwotą 1500 złr. do restauracyi krużganków w klasztorze OO. Dominikanów. — Składki centowe na restauracyą Wawelu doszły do 14,000 złr. — W związku literackim miał pogadankę dr. Zdziechowski, autor „Byrona i jego wieku“ o najnowszej poezyi polskiej; mówił o poezyach Tetmajera i Wierzbickiego. — Nowego biskupa księcia krakowskiego powitamy niezadługo, gdyż skrócono formalności przedwstępne, poprzedzające intronizacyę. — Na rzecz Towarzystwa szkoły ludowej ma być danym raut, którego siłą przyciągającą będzie tak zwany *Journal parlé*. — Jak mówią, Adam Asnyk nie będzie się starał o mandat poselski przy nowych wyborach do sejmu; pragnie podobno odpocząć i usunąć się na czas dłuższy od udziału w sprawach publicznych.

K. Bartoszewicz.

W sprawie krakowskiego karnawału.

Od jednego z naszych przyjaciół, przebywającego w Krakowie, otrzymujemy następujące uwagi:

Ponieważ „Przegląd“ przedrukował wyjątek z idyotycznego fejletonu „Dziennika Pozn.“ o krakowskim karnawale, przeto pozwólcie mi dorzucić w tej kwestyi słów kilka.

Oryginalny zaiste mamy karnawał w Krakowie. Bawią się tylko sfery najwyższe i najniższe: jednego dnia jest na Kleparzu bal służby dworskiej, a drugiego dnia bal w pałacu Potockich „pod Baranami“ — prawda, że i tu po części służba dworska, boć szambelanów pomiędzy bawiącymi się w pałacach nie zabraknie. Balów publicznych nie ma całkiem.

W sprawie żałoby narodowej mogą być rozmaite zdania. Mając swoje własne, nie zabraniam nikomu, aby miał także swoje. Idzie tylko o to, ażeby był sens, ażeby były logiczne podstawy tego zdania. Pojmuję, jeżeli jedni ze względu na smutne wspomnienia postanawiają nie bawić się w karnawale; pojmuję, jeżeli inni mówią: niech nie będzie balów publicznych, bo te by raziły w rocznicę ostatniego rozbioru, ale pozwólmy młodzieży potańczyć sobie prywatnie w kółkach domowych; pojmuję wreszcie, iż można nawet mieć zdanie: na nic nam się nie przyda wszelka manifestacya, nie zmieniajmy zatem trybu życia, nie bawmy się ani mniej ani więcej, tylko tak, jak lat poprzednich. Takie trzy zdania mogą pomiędzy sobą walczyć, a które silniejsze to zwyciężyć powinno. Za pierwszem zdaniem poszła w Krakowie część inteligencyi i młodzieży: za drugiem reszta inteligencyi i młodzieży, oraz sfery mieszczańskie, za trzeciem, jak dotychczas, właściwie nikt nie poszedł, bo na zdania lokajów, pokojówek i żołnierzy, mających swe „bale publiczne“ nikt nie zwraca uwagi. Okazało się jednak, że jest i czwarte zdanie, choć zdawałoby się, że nie ma dla niego już miejsca, że wszelki rozsądek je wyklucza. To czwarte zdanie powstało w łonie arystokracyi, która powiedziała sobie: bawmy się tego roku więcej, aniżeli zawsze, zamanifestujmy swoją radość z powodu rocznicy rozbioru. Ustaliło się, że domy magnackie, nawet znane ze [illegible] niechętnie otwierały podwoje dla wszystkich zabaw w obecnym karnawale hucznie wyprawiają bale. [illegible]ków patrząc na to, nie może sobie zdać sprawy z tego, co się dzieje. Przystąpiono do tej akcyi „nożnej“ z namysłem i z przygotowaniem. Podobno od dawna nie przybyło do Krakowa na karnawał tyle, co w roku bieżącym, pięknych panien z magnackich i dorobkiewiczowskich rodów i tyle młodzieży pełnej i pół krwi arystokratycznej. Te przyszłe „nadzieje ojczyzny“ pracują zapamiętale nad jej odrodzeniem, ślizgając się po posadzkach salonów, flirtując i wychylając kielichy szampana.

Objawu tego nie można nawet brać na seryo, nie można go napiętnować właściwym wyrazem, bo mniej tu zapewne złej woli, ile bezdennej głupoty. Ale ogół nie wchodząc w przyczynę, nie obeznany dokładnie z kretynizmem prowodyrów tej akcyi, sądzi rzeczy tak, jak się przedstawiają. A sąd ten streszcza się w słowach: „cóż dziwnego, że ci panowie się bawią, wszak większa ich część wzrosła na nieszczęściach kraju, wszak zajrzawszy w ich genealogie, wszędzie prawie znajdziemy, że odziedziczyli po mieczu, lub po kądzieli część targowickiej spuścizny.“ Nie przeczę, iż w sądzie takim jest nieco stronniczości, ale czy dziwić mu się można, czy nie jest on wypływem drażnienia opinii przez ludzi, co mają pretensye do jej kierownictwa. Jestto odłam tej samej głupiej po-

lityki kłaniania się, która w Warszawie przez iluminacye i stroje balowe na „galówce“ w teatrze doprowadziła do drugiego carskiego reskryptu do Hurki. Tym panom się zdaje, że wierzgając w Krakowie, pogłaszczą cara w Petersburgu, a on o nich nie dba wcale, ogół zaś im pisze reskryt, a raczej patent . . . na Targowiczan.

NA WYŁOMIE.

(*Jednomyślne potępienie. My a Rzymianie. Sokoły. Lecznica.*)

Jednomyślność! Jakiż to rzadki objaw w ludzkiem rojowisku! A jednak tydzień ubiegły uraczył nas niespodzianką taką, uraczył nas — cóż to za dziwy legendowe?! — jednomyślnością prasy poznańskiej. Artykuł lojalnego „Kuryera“ p. t. „W dzień urodzin cesarza“ w proch się potoczył pod zgodnem natarciem naszej prasy polskiej. „Goniec“, „Orędownik“, „Postęp“ i „Dziennik Poznański“, — jednem słowem cała armia skłóconych żywiołów zawarła chwilowe przymierze, aby cisnąć rękawicę wyuzdanemu byzantynizmowi, już nie tronowego wielbiciela, lecz bigota tronu. Protest dziennikarstwa znalazł echo szerokie w całem społeczeństwie poznańskiem i nawet w tych sferach, które zwykły c i c e r o n o w e artykuły „Kuryera“ czcić jak świętość ewangeliczną, marszczono czoła, kręcono głowami i sarkano po cichu w zaufanem kółku. Inni znów, którzy w braku „Kolców“ lub „Fliegende Blaetter“ na bibule „Kur. Poz.“ szukają humoru, czkawką odpokutowali wielką biesiadę literacką i śmiechu kaskady; a było wreszcie wśród czytającej publiczności kilku tragików koturnowych, ciskających całe lawiny przekleństw na „monarchiczną“ redakcyę i deklamujących jak król Lear na wygnaniu: „Wyjcie wiatry, bijcie gromy, ziemio drżyj!“ Do tej to gromadki zbliżył się w pewnej kawiarni poznańskiej jakiś jegomość o szerokiej i jowialnej twarzy z dobrodusznem uśmiechem na ustach i figlarnem błyskiem w źrenicach. Posłuchał chwileczkę długiej litanii komplementów, skierowanych ku świętomarcińskiej kuźni lojalizmu, a potem położywszy rękę na ramieniu jednego z gromowładnych polityków, tak mówił, oczkiem mrugając:

„Tere fere tatuleńko!“ krzyczą jak najęci, wymyślają redaktorowi jak furmani i niby nie wiedzą, zkąd to wiatr wieje na świętym Marcinie. „Naczelny“ w niektórych redakcyach poznańkich to król malowany. Znam ja takich, co jęczeli jak w bólach porodowych, posyłając do druku rozmaite bomby, [illegible] i fajerwerki. „Ale widzicie, — przyszedł taki pan albo taki [illegible] [illegible] — „Przyno[illegible] od wielkiego czarodzieja: „I mieś[illegible] albo won!“ Cóż robić? Dzieci krzyczą: „Papu!“ żona: „Tualety!“ Żołądek: „Piwa!“ Marsz chłopak! Nieś do drukarni artykuł! Nie sapcie więc na redaktora. Kowal zawinił, a kołodzieja powiesili.

Tak mówił jegomość o szerokiej twarzy, a gromada tragików politycznych chórem krzyknęła: „To handel idei!“

Uśmiechnął się dobrodusznie: „Handel? Bywajcie zdrowi! Szukajcie Rzymian ze świecą, ja wiem, że jestem w Poznaniu, i żyję w dziewiętnastem stuleciu.“

I poszedł wyrozumiały na słabości ludzkie filozof lub praktyczny filister, drwiący z męczenników. A tragicy długo jeszcze skarżyli się gorzko, że męztwa rzymskiego nie ma już w narodzie. Mówiono o dekadentyźmie, o skarłowaceniu ducha i ciała, o zwyrodnieniu społeczeństwa i gwałtownej potrzebie reformy.

Ileż tam leków zalecano cudownych, ileż ziółek i proszków z podręcznej apteczki! Z sceptycznym uśmiechem słuchałem domorosłych lekarzy, lecz nagle uszu moich doleciał jeden wyraz, który uśmiech ten spłoszył swym dźwiękiem: *Sokoły!* Jakieś rzymskie tchnienie wionęło ku mnie z magnetycznego okrzyku i pragnąłbym roznieść go dzisiaj na wszystkie strony ojczyzny mojej. Związek ten, to nie proste stowarzyszenie gimnastyków, — to wielka szkoła hartu ciała i ducha, — to wielkie sanatorjum nie tylko członków skarłowaciałych, lecz dusz wyziębłych i miękkich, — to kryształowe źródło nie tylko zdrowia fizycznego lecz rzymskich cnót obywatelskich: odwagi, nieugiętości, miłości i siły przekonań. Galicya już dawno uznała doniosłość „Sokołów“ dla narodowego rozwoju, i gniazda bratniej dzielnicy członków swoich liczą na tysiące. Magnaci, inteligencya i lud, — najwyżsi urzędnicy kraju, pierwszorzędne siły literatury i publicystyki, młodzież, mężowie i starcy, wszystko się garnie do „Sokołów,“ pojmując dokładnie kulturalne i narodowe ich posłannictwo. Tylko u nas cisza jak zwykle i senna apatya, a najliczniejszy „Sokół“ poznański dla braku poparcia nie zdołał dotychczas zgromadzić funduszów, by własną „Sokolnię“ zbudować. Czas już najwyższy, aby nareszcie wyjść z tego odrętwienia i podać rękę dzielnej drużynie sokolskiej.

Sposobność ku temu nadarzy się wkrótce, bo oto „Sokół“ poznański, skreślając w imię „żałoby narodowej“ bal doroczny z karnawałowego programu, postanowił urządzić koncert publiczny na budowę sali gimnastycznej. Na koncercie tym po raz pierwszy wystąpi własna kapela sokolska, a program obfity i barwny, solowe śpiewy, smyczkowe popisy, garść humoru w mimicznych i wokalnych produkcyach, — oto uczta, którą niebawem zgotuje nam dzielne sokolstwo. Czy publiczność poznańska usłucha pobudki mojej i zapełni salę po brzegi? O! pragnę tego gorąco, bo atmosfera obojętności zwichnąć gotowa sokole skrzydła, a gdy królewskie ptaki ogrzejecie ciepłem serdecznem, wtedy spotężnieją i wzbić się mogą wysoko. I pragnę również, żeby ta sympatya nie ograniczała się do udziału w zabawie koncertowej, lecz towarzyszyła stale „Sokołom“ poznańskim, aby w szeregach Związku stanęli wszyscy ludzie dobrej woli i serca, a lekcye ćwiczeń gimnastycznych nie świeciły pustkami.

Pragnę — ileż razy to słowo powtarzałem w artykułach moich bez echa. Są choroby duszy zbiorowej w narodzie naszym, które w rozpacz wprowadzają wszystkich lekarzy i kliniki społeczne, i niechaj mi wierzy ta dziatwa Eskulapa, która przed kilku tygodniami powołała do życia pierwszą lecznicę dla chorób ciała w w Poznaniu, że my każdy rezultat okupujemy nakładem większego trudu, większego zaparcia i większych udręczeń niż ona.

Proszę tylko nie posądzać mnie o zazdrość nizką. Pracujemy wszyscy, choć w innych kierunkach, nad dobrem ludzkości i lekarz ducha, zdobywający sobie mozolnie piędź po piędzi grunt pod nogami, zapisuje z żywą radością i serdecznem uznaniem błyskawiczny tryumf swoich kolegów — lekarzy ciała. Pierwsza lecznica poznańska, założona przez grono polskich Eskulapów, zjednało sobie — jak słyszę — w przeciągu kilku zaledwie tygodni szerokie zaufanie polskiego i niemieckiego społeczeństwa, a tem samem dowiodła, że odpowiada potrzebie chwili i spełnia sumiennie obowiązki swoje. Instytut ten, udzielający za minimalną opłatą 50 fenygów starannej opieki i porady sanitarnej, jest istotnem dobrodziejstwem dla miasta naszego, bo chociaż urzędowe „kasy zdrowia“ ułatwiały mniej zamożnej ludności zasięganie pomocy lekarskiej, to za obrębem „kas“ stał wielki tłum drobnych urzędników, młodzieży handlowej, żon i dzieci z warstw robotniczych, który bezpłatnej opieki lekarskiej szukał naprożno lub wstydził się do niej apelować, a taksy normalnej opłacać nie mógł. Z stosunków takich wynikało niejednokrotnie, mianowicie w chorobach chirurgicznych i kobiecych, niebezpieczne zaniedbanie cierpienia i śmierć w konsekwencyi, a historya klinik i szpitalów dostarcza tu na potwierdzenie charakterystycznych przyczynków.

To też pierwszą lecznicę w Poznaniu, założoną i kierowaną przez grono lekarzy-specjalistów, witam z prawdziwą radością. Jeżeli ciernie życia dziennikarskiego stargają mi nerwy i płuca, nie omieszkam zapukać do wrót tej eskulapowej świątyni, gdzie chorym zdrowie wracają, a zmęczonych krzepią — koniakiem.

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. W dniu 30 stycznia doręczono ks. Adamowi Sapieże adres dziękczynny, zaopatrzony podpisami z wszystkich dzielnic Polski, jako dowód czci i hołdu za trudy podjęte około wystawy lwowskiej. Adres wręczyła deputacyą złożona z 300 osób.

Pogłoska o ustąpieniu marszałka parlamentu Levetzowa pojawiła się znowu w prasie niemieckiej. — „Dziennik Pozn.“ ogłosił kilka dokumentów, dotyczących spółki H. K. T. Z dokumentów tych wynika, że stowarzyszenie to posiada rozgałęzioną organizacyę, biuro prasowe, mężów zaufania i t. d. — Rewelacye głównego organu socyalistycznego „Vorwärts“, który ku zdumieniu wszystkich co chwila wydobywa na jaw tajne dokumenty rządowe, zastraszył w wysokim stopniu władze, które, jak nam dzisiaj donosi telegraficzne biuro Wolffa, zarządziły śledztwo celem wykrycia osoby dopuszczającej się systematycznie zdrady zaufania. — W powiecie chełmskim w ostatnich dniach aresztowano ośmnastu księży wskutek denuncyacyi. Przyczyną było dawanie ślubów przez księży byłym unitom. Rząd zaprowadziwszy w całym powiecie prawosłowie, uważa takie postępowanie kapłanów katolickich za karygodne. — Studenci warszawscy, wywiezieni do wschodniej Rosyi za zakupienie nabożeństwa w stulutnią rocznicę powstania w Warszawie, wskutek amnestyi cara Mikołaja II powrócili do kraju i oddani zostali tylko pod dozór policyi.

Teatr i muzyka. Helena Modrzejewska wystąpiła w czwartek po raz ostatni na scenie poznańskiej w dramacie „Dalila“. Zamiar artystki, aby urządzić dwa przedstawienia w Kaliszu, nie przyszedł do skutku, ponieważ władze rosyjskie zabroniły Modrzejewskiej występować w granicach caratu. — Do Poznania zjeżdża niezadługo na gościne występy Mieczysław Frenkel, artysta teatrów warszawskich. — Znakomity tenor berliński Rothmil, wystąpił w poznańskim teatrze miejskim w partyi Lohengrina. — Teatr lwowski wystawi w poniedziałek dwa nowe utwory oryginalne: „Komedya konkursowa“ Adama Asnyka i „Dzień w redakcyi“ Zyg. Przybylskiego. — „Wilenskij Wiestnik“ dowiaduje się, iż prezesem dyrekcyi teatrów rządowych w Warszawie zostanie albo Muchanow, który już przez lat kilkanaście zajmował to stanowisko, albo hr. Wielopolski (młodszy). Scena łódzka wystawiła po raz pierwszy operetkę Millöckera p. t. „Zaklęty zamek.“ — Józef Śliwiński ukończywszy swe występy w Anglii grać będzie w Rydze i Wilnie, a następnie zjedzie do Warszawy.

Zmarli:

Franciszek Certain de Canrobert, ostatni z marszałków trzeciego cesarstwa, głośny swego czasu z zwycięztwa swego nad Almy w Krymie, zm. 28 stycznia w Paryżu.

Odpowiedzi Redakcyi.

X. Y. Adresu żądanego nie mamy pod ręką. Racz się Pan zgłosić do redakcyi „Kuryera Lwowskiego“ (Chorążczyzna 1), która niewątpliwie udzieli żądanych informacyi.

Par. Tak jest. „Vorwarts“ a nie „Volk“ publikował swojego czasu tajne orędzie w sprawie maltretowania żołnierzy.

A. M. Wierszyk zaczynający się od słów: „Bewahr dein Heiligthum, die Sprache“ publikowany był przed kilku tygodniami w „Alldeutsche Blätter“. Nazwiska autora nie przypominamy sobie.

Filipota. Polecamy „Emancypantki“ Prusa i „Rodzinę Połanieckich“ Henryka Sienkiewicza. Druga z wymienionych powieści ukaże się za kilka dni na półkach księgarskich.

Slaz. Radzimy zgłosić się do dr. Krysiewicza (Św. Marcin 57).

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli: B. K a s p r o w i c z z Gniezna 10 M. Przegrany zakład 4 M. Ogółem zebraliśmy dotychczas 696,75 M.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli: J ó z e f G r o s m a n, czysty zysk z obchodu Kościuszkowskiego w Inowrocławiu w ilości 280,65 M. O d k u p c ó w w O s t r o w i e 42,50. Razem 323,15 Ogółem zebraliśmy dotychczas na cel powyższy 475,40 M. Sumę tę złożyliśmy w Banku Przemysłowców Polskich jako centralnemu miejscu składek.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 6. Poznań, Niedziela 10go Lutego 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

O naszych publicznych zadaniach architektonicznych i ich przeprowadzeniu.

I.

Polacy w dzielnicy naszej nie wiele mają sposobności do stawiania podług własnej myśli budynków dla użytku publicznego, gdyż główna część tego rodzaju gmachów należy do rządu, nasyłającego główniejsze projekty z Berlina, lub zależna jest od dyspozycyi gmin, będących pod przeważnym wpływem naszych współobywateli niemieckich. Jedyne pole, stojące jeszcze otworem dla rozwoju naszej czynności w architekturze publicznej, to katolickie budynki kościelne, lub prace architektoniczne, pozostające w styczności z towarzystwami naszemi.

W długim czasie pokoju po wojnie francuzko-niemieckiej, powstało u nas kilka nowych kościołów po wsiach i miasteczkach, gdzie tego okazała się już najniezbędniejsza potrzeba; niczem to wszakże do ruchu, jaki w ostatnich latach rozwinęły w tym kierunku protestanckie wyznania. Wszelkie usiłowania w tym względzie popiera rząd wszechwładnym swym wpływem i wszelkiemi możliwemi środkami, których mu obficie dostarczają fundusze komisyi kolonizacyjnej, a po trosze i protestancki t. zw. Gustav-Adolph-Verein. Ażeby tej gorliwej, tak dla katolicyzmu jak i polskości niebezpiecznej czynności cośkolwiek przeciwstawić, założono u nas przed 5 laty za gorliwem staraniem głównie ks. dziekana Gimzickiego z Wielichory stowarzyszenie błog. Andrzeja Boboli, mające na celu stawianie nowych kościołów i kaplic, tudzież przyozdabianie i naprawę domów bożych, gdzie tego potrzeba. O czynności jednak jakiejkolwiek stowarzyszenia tego prócz kilku notatek o świeżej zmianie zarządu nic się nie dostało do wiadomości publicznej. Żywotności ono przez 5 lat nie okazało żadnej, chociaż spodziewano jej się po ruchliwym na innych polach obecnym prezesie stowarzyszenia. Czyżby ono, u „góry“, nie miało być dobrze widzianem? Dziwny to n. p. i nie do wytłomaczenia objaw, jeżeli Zarząd stowarzyszenia nie odbył przez pięć lat może ani pięciu posiedzeń, a po konstytucyjnem nie zwołał dotąd ani jednego walnego zebrania członków.

Przed 9 może laty powstało u nas Towarzystwo Techniczne, które za jedno ze zadań postawiło sobie, służyć publiczności naszej radą w trudniejszych przypadkach na polu technicznem. Po roku przemieniło się ono na Wydział techniczny w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, który okazywał przez trzy lata dosyć żywotności, potem jednak zasnął powoli i mimo prób podjętych do ożywienia go lub wskrzeszenia nie podźwignął się ze swego letargu.

Budowle publiczne Towarzystwa „Pomocy“ przed Teatrem Polskim wywołały dziwne na poznańskie stosunki ożywienie pomiędzy architektami naszymi i zajęcie się tą sprawą wśród publiczności. Rozpisano nawet zupełnie prawidłowo w polskich gazetach konkurs z wyznaczeniem odpowiednich nagród. Wynik jego nie był dodatnim, gdyż siły, które w konkursie udział wzięły, nie dorosły postawionemu zadaniu; lepsi zaś architekci z Królestwa i Galicyi wstrzymali się od udziału podobno — jak nam mówiono — dla niestosownego wyboru jurorów. Następnie poruczono opracowanie projektu dwom architektom naszym i ci wywiązali się z najtrudniejszej strony zadania t. j. z wynalezienia odpowiedniego rozkładu i wyzyskania miejsca w zupełnie odpowiedni sposób, tylko nad zewnętrznym wyglądem domów frontowych wywiązał się pomiędzy nimi a „niefachowymi znawcami“, będącymi u steru „Pomocy“ spór, do rozniecenia którego przyczynił się niemało uproszony o zdanie juror, popierający, zamiast przedłożonego, swój własny projekt na fasadę w innym stylu. Lubo nietylko przeciw tak nietaktownemu wystąpieniu, ale i całemu projektowi jurora odezwały się publicznie poważne głosy rzeczywistych znawców, zdołał on jednak utrzymać wpływ swój przy dokładniejszem przerobieniu projektu, ofiarując „Pomocy“ bezpłatnie swe dalsze usługi. Jako apelacyę do opinii publicznej i epilog tego dość zaciętego sporu uważać można w toku budowli wydaną broszurę p. t. „Projekty do domów frontowych przed Teatrem Polskim w Poznaniu przez J. Rakowicza i W. Dylewskiego“, przedstawiającą z obszernym dowodowym materyałem niemiły przebieg całej sprawy; cel wszakże broszury, ażeby głównemu frontowi domu przed teatrem samym, póki był czas jeszcze, nadać charakter stylu, opartego więcej na naszych tradycyach narodowych, nie został osiągnięty. Jakkolwiek juror ten przysłużył się „Pomocy“, wywołał jednak nietaktownem wystąpieniem swojem w tym razie, przy zresztą uznanej ogólnie powadze, szkodliwe zamięszanie pojęć. Prócz kilku gazet naszych, które przeciwko postępowaniu takiemu w ostrym tonie głos podnosiły, dały i zawodowe czasopisma galicyjskie wyraz tym samym zapatrywaniom. Tylko poczciwy staruszek „Dziennik Poznański“, stojący pod wpływem osobistości, którym na zabiciu milczeniem tej całej sprawy wiele zależało, milczał w swej wielkoduszności uporczywie, jakby nie warto było o niej ani słówkiem wspomnieć.

Taki sposób rozwiązania tego jak na poznańskie stosunki większego zadania architektonicznego wywołał wprawdzie wiele rozczarowania i goryczy pomiędzy architektami naszymi, przyniósł wszakże ten dodatni rezultat, że cały spór i załatwienie jego odbyło się *wyłącznie pomiędzy nami*, nadzór nad wykonaniem prowadził Polak i wykonanie budowli pozostało w ręku polskiem. W naszych stosunkach zaliczyć to należy „Pomocy“, jako zasługę, iż okazała tyle samowiedzy i godności narodowej, że nad dziełem, mającem przyjść w sukurs teatrowi naszemu, nieprzyjaznych nam żywiołów do współudziału nie dopuściła. Jakkolwiek ze systemem lub stylem fasad nie potrzeba się godzić i to i owo we wykonaniu za chybione uważać należy, z dumą jednak spojrzeć możemy na napis „Naród sobie“ w podwórzu naprzeciwko teatru jaśniejący, gdyż naszym pomysłem i naszą pracą ta przyszła podstawa teatru została wzniesioną.

Wobec tego przyjrzyjmy się, co się dzieje w dzielnicy naszej z podobnemi zadaniami architektonicznemi na innych polach życia publicznego.

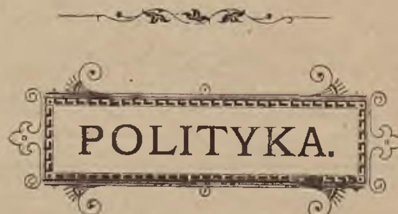
W czasie walki kulturnej zapanował u nas wielki zastój w budowie kościołów. Przez opróżnienie wielu probostw uzbierał się w niejednej parafii fundusz dość spory, który po ukończeniu walki kulturnej pozwoliły odnośne władze zużyć, gdzie się tego okazała potrzeba, na budynki kościelne. Dla tego zapanował zaraz po objęciu rządów w archidyecezyach naszych przez ks. Dindera wielki ruch budowlany, często z uzbieranych funduszów wakansowych, nieraz wszakże i za współudziałem składek publicznych. Ztąd przy obowiązkowych datkach patronów i parafian powstały w ostatniem dziesięcioleciu u nas nowe większe, albo też przebudowane gruntownie kościoły katolickie w Raszkowie, Kopanicy, Pogorzelicy, Samoklęskach, Łaszczynie, Doruchowie, Tucznie, Małym Krzycku, Wysocki, Świecichowie i innych jeszcze miejscowościach. Prócz tego poddano nieomal każdy, w skutek walki kulturnej nieco zaniedbany ko-

ściół restauracyi na większą, lub mniejszą skalę. Ruch ten zwiększył się jeszcze bardziej po wstąpieniu przed trzema laty na tron św. Wojciecha obecnego arcypasterza, Za jego głównie inicyatywą i przy jego osobistym współudziale przystąpiono do rozbudowania seminaryum duchownego w Gnieźnie i do budowy nowego seminaryum duchownego w Poznaniu, zabrano się też do wewnętrznego przyozdobienia obydwóch tumów w Gnieźnie i Poznaniu, wystawiono dwie nowe kanonie przy tumie, dalej zamierzają ze współudziałem rządu budować nowy kościół w Inowrocławiu obok cennej ruiny kościoła P. Maryi tamże, a oprócz tego ze współudziałem składek publicznych nowy kościół w Mądrem, Nowym Tomyślu, na Jeżycach i Św. Łazarzu, wreszcie omawiają w ostatnich miesiącach rozszerzenie kościołka św. Wawrzyńca w Gnieźnie i rozbudowanie kościoła św. Marcina w Poznaniu. Wiadomo jest powszechnie, z jakiem zamiłowaniem zajmuje się ks. arcybiskup Stablewski kościelnemi sprawami budowlanemi, z jaką żarliwością i naciskiem używa nieraz swego poważnego wpływu na organa pojedyńczych parafii, ażeby swoje daleko sięgające pomysły przeprowadzić.

Tem więcej zastanawiają nas praktykowane dotąd w pojedyńczych przypadkach sposoby urzeczywistnienia tych projektów, o ile one czy to przez pisma, czy też ogłoszenia publiczne, albo przez głośne dyskusye na posiedzeniach dozorów kościelnych lub reprezentacyi parafialnych doszły do naszej wiadomości. Wiedząc dobrze, iż tak kapitułom przy obydwóch kościołach naszych katedralnych jak i organom naszym parafialnym przysługuje niezaprzeczone prawo rządzenia oddanemi ich pieczy przybytkami Bożemi z przyzwoleniem władzy duchownej, nie chcielibyśmy bynajmniej wkraczać w ich atrybucye, sądzimy wszakże, iż prasie naszej, nie mającej zresztą w swym gronie pism zawodowych, przysługuje także prawo publicznej dyskusyi nad sprawami ogólnie nasze społeczeństwo obchodzącemi, bo wymagającemi od niego zbyt często ofiar pieniężnych.

Ubogie społeczeństwo nasze, łożące często grosz wdowi na nowe przybytki boże lub dawne zakłady kościelne, powstałe pierwotnie szczodrobliwością przodków naszych, ma prawo domagać się, ażeby szata zewnętrzna tych zabytków, przechodzących do potomności, była wyrazem *naszej* sztuki budowniczej i przedstawiała charakterystycznie jej stan u nas teraźniejszy. Dawniej, kiedy Polska była samodzielną i na własnych siłach w sztuce budowniczej oprzeć się jeszcze nie mogła, pożyczała dość często u dalej posuniętych sąsiadów sobie architektów i sprowadzała ich ze stron dalekich, jak tego wypiskami archiwalnemi dowodzi n. p. Ehrenberg w niedawno wydanej „Geschichte der Kunst im Gebiete der Provinz Posen“. Wyczytujemy tam, jak w XVI wieku możny pan Andrzej Górka prosi księcia Albrechta pruskiego o przysłanie mu wytrawnego architekta swego, dalej, jak rada miasta Poznania udaje się z podobną prośbą do rad miejskich we Wrocławiu, Lambergu lub Szczecinie o przysłanie architektów do wystawienia różnych budynków publicznych, albo jak „sławna rada Poznańska“ zawiera w polskim języku z Włochem Janem Baptista s Kwadra s Lugana umowę o „przybudowaniu ratusza Poznańskiego“. Inne to jednak były wtedy czasy; różnice narodowe nie występowały tak stanowczo jak teraz, a Polska żyjąc w zgodzie ze sąsiadami, za przysługę od nich doznaną odwzajemniała się przy innej sposobności. Dziś w architekturze panuje u wszystkich, do samodzielności umysłowej poczuwających się narodów, wybitna dążność, ażeby w swój odrębny sposób na tle narodowem wyrażać i przedstawiać swojskie myśli architektoniczne. Ztąd konkursa, jakie ogłaszane bywają na przeróżnego rodzaju budynki publiczne i prywatne, rozpisują się w każdym kraju i języku przeważnie dla *własnych* architektów, dając im sposobność do okazania swych zdolności i do wykształcenia się dalszego w pewnym kierunku. Rzadko tylko bardzo wyczytać można wiadomość o konkursie internacyonalnym i to chyba przy zadaniach, które obchodzić mogą różne narody porówno, albo też w takich razach, gdzie naród jakiś nie widzi w sobie i pomiędzy swymi sił do sprostania zadaniu. W Niemczech, Francyi lub Anglii zostały międzynarodowe konkursa po zrobionych przy nich doświadczeniach niekorzystnych prawie zupełnie zarzucone, a wszelkie czasopisma zawodowe w innych krajach i narodach wrzawę podniosłyby wielką, gdyby obcokrajowcowi dostać się miało wyjątkowo większe zadanie w udziale; a cożby dopiero gdzieindziej za głos oburzenia podniósł się na taki zarząd instytucyi jakiejkolwiek, gdyby ta, zebrawszy grosz wdowi od swoich, stawiała potem na czele budowli obcego swoim i językiem, a nawet religią, kierownika. Czyż my, mianowicie wobec praw antypolskich i zakusów spółki naszych najserdeczniejszych HKT nie posuwamy się zbyt daleko w tolerancyi, zapraszając do współudziału nad pracami wyłącznie *naszemi* obcych nam językiem i zapatrywaniami, choćby i nie bez zdolności architektów, nie zrobiwszy u swoich ani stanowczej próby, czyby równie dobrze, jeźli nie lepiej, z podobnego zadania się nie wywiązali? Z przyjemnością słuchaliśmy zeszłego roku architektów naszych w Krakowie i Lwowie, jak wskazując na imponujące nieraz dzieła swoje, z samowiedzą napomykali, że to wszystko ich własne pomysły i ich własne wykonanie bez zapożyczania się u obcych; za nie do uwierzenia zaś uważali oni, że u nas tak daleko posuwać można „tolerancyę“ na polu architektonicznem względem obcych nam językiem i religią, iżby ci bez walki i stanowczego oporu z naszej strony, zabierali dla siebie przywództwo i sławę lepszych architektów, a nam pozostawiali robociznę i ochłapy, jakie odpadną przy wykonaniu, do podziału!

Jacz.



Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego.

„*Dziennik Kujawski*“ donosi w Nr. 26:

W Bydgoszczy oświadczył się Związek niemiecko-wolnomyślny na ostatniem swojem posiedzeniu bardzo energicznie przeciwko nowemu Związkowi ku ochronie niemieckości na wschodnich kresach. Nowy Związek wywołuje tylko niezgodę pomiędzy Niemcami i Polakami, naraża na straty przemysłowców i kupców, a wskutek wystąpienia tego nowego Związku nienawiść narodowościowa wydała już dziwne owoce. Niemieccy wolnomyślni są dobrymi Niemcami, ale nie pragną żyć z Polakami w niezgodzie — i dla tego trzymać się będą zdala od nowego Związku, ponieważ nie mogą się zapalić do waśni narodowościowej, którą Bismarck na nowo rozpalił we Warcinie.

W sprawie rozwiązanego towarzystwa „Oświata“ w Lipinach pisze korespondent „*Gazety Opolskiej*“:

Jak daleko zaś nienawiść ks. Ronczki ku członkom Towarzystwa sięga, wzdrygam się wspomnieć, mianowicie na owe nieprzyjemności, jakich przez ten czas od niego doznało. Wkrótce po założeniu towarzystwa „Oświata“ wyraził się ks. R.: „Ich muss die polnischen Vereine ausrotten, ich bin der grösste Feind von denselben.“ (Ja muszę te polskie towarzystwa wytępić, bo ja jestem największy ich nieprzyjaciel). Także się wyraził, że ma pieniędzy dosyć, to zapłaci, jeżeli go członkowie towarzystwa „Oświata“ zaskarżą.

Przez godny czas chodził po kolędzie. a jeżeli w którym domu był jaki członek z towarzystwa „Oświata“, to cały dom opuścił, nawet na jednego kupca, który tylko był gościem towarzystwa „Oświaty“ publicznie ks. kapelan Orlinski na drodze wołał: „Do waszego domu nie pójdę, bo ten jest w „Oświecie!““

Dalej mówił ks. R. że to dopiero początek, że będzie pisał do ks. Biskupa, aby ich ukarał...

Gdy ten list kończę, dowiaduję się, że pan pierwszy prokurator zamknięcie tow. „Oświata“ skasował i uznał towarzystwo za prawnie istniejące.

Dodaję jeszcze, że pewna znana polsko-niemiecka

FRANCISZEK RAWITA.

ANDZIA.

NOWELA.

(*Ciąg dalszy.*)

II.

Na sali rzęsiście oświetlonej, już było dużo gości, gdy Janek z Zyziem weszli. Obydwaj ubrani byli w pożyczane fraki, mieli do spółki dwadzieścia pięć groszy — i dobrze im było na świecie. Sunęli wprost środkiem sali, trzymając się pod ramię i rozmawiali wesoło o targach z Aronem i o szczęśliwem ich zakończeniu.

— A wiesz — odezwał się Janek — przydadzą mi się te dwadzieścia pięć groszy, któreś wytargował, bo już teraz czuję, że zjadłbym pół tuzina sardelków.

— Tymczasem smakiem się obądź — uspokajał go Zyzio — a wracając kupimy bułek do herbaty i razem ze Solskim spałaszujemy.

— Zgoda.

Sala wypełniała się coraz więcej i więcej. Na chórach odezwały się strojenia skrzypiec i wiolonczeli. Przez powietrze, pełne hałasu i wrzawy, od czasu do czasu, niby zgrzyt po szkle, przelatywał dźwięk pociągnięcia smyczkiem po skrzypcach lub wiolonczeli, albo wrzaskliwy głos puzonu. Zapowiadało to rychłe rozpoczęcie tańców. Mnóstwo czarnych fraków snuło się śród arlekinów, żydów, cyganów, hiszpanów, śród różnobarwnych strojów masek. Tu i owdzie wyrywały się w powietrzu jak race, krótkie, urywane wyrazy: tańczę, nie, następnego, dziękuję. Szykowały się pary... Nagle zabrzmiał z galeryi sygnał walca. Zdawało się, że gdyby bomba wpadła do sali, nie byłaby w stanie wywołać większego popłochu, wrzawy i ruchu. Wszyscy razem jeden wir wielki wytworzyli, pełen gwaru, szamotania się, biegania, urywanych wykrzykników, potem, jak gdyby skutkiem jakiejś odśrodkowej siły poczęły ku ścianom odpływać fale różnobarwne masek — jeszcze chwila, i sala zagrzmiała dźwiękami skocznego walca.

Koledzy stanęli pod filarem i patrzyli. Nie mieli jeszcze odwagi tańczyć z nieznajomemi maskami.

— Wiesz co — odezwał się Janek — to jednak dość głupia rzecz taniec. Spójrz, co to właściwie jest?

— Zaczynasz filozofować.

— Skakanie, nic więcej. Z piękna zrobiliśmy igraszkę — ciągnął Janek — to co u Greków było sztuką, u nas stało się ułatwieniem, że... że... że tak powiem najgrzeczniej poznania się młodych ludzi.

— Nudzisz... trzeba było w domu siedzieć..

— Kiedy ja także lubię tańczyć.

— Więc znajdź sobie jaką maskę.... i jazda!

W tej chwili Janek uczuł, że ktoś dotknął się jego ramienia. Obejrzał się — na ramieniu leżał czarny wachlarz, należący do ślicznej ręki, która go trzymała. Dotknięcie to chwilkę trwało tylko, jak złudzenie jakie. Ta sama ręka, która wachlarz położyła, cofnęła go w milczeniu. Była to jakaś zakapturzona Noc, smutna, złotemi gwiazdemi zasiana, w towarzystwie jutrzenki, ubranej w blado-różowy zawój. Janek utkwił źrenice w Noc i nic nie mógł dojrzeć oprócz błysków oczu, migających w otworach maski.

Noc odezwała się spokojnie.

— Dobry wieczór poeto... Z parnasu na bal maskowy przychodzisz?

Janek zmieszał się.

— Nie poznajesz mnie?

— Nie znam.

— A... nie znasz? Więc do widzenia... zapamiętam to sobie.

Zrobiła powolny ruch półobrotu, jak gdyby rzeczywiście miała zamiar odejść, lecz wahała się. Jankowi chciało się także rozmowę nawiązać, nachylił się ku niej, woczy się wpatrzył

gazeta, redagowana w duchu schlebiającym rządowi, napisała, że towarzystwa polsko-katolickie, w którym ksiądz nie jest, nie mają prawa polsko-katolickiemi się nazywać.

Takie smalone duby może owa gazeta tylko swoim czytelnikom pisać, którzy w nią wierzą, jak w nieomylność. Świadomy jednak swoich wraw i obowiązków lud może bardzo dobrze odróżnić sprawy świeckie od spraw kościelnych, i wie mianowicie, że dobrze jest wprawdzie, gdy życzliwy ksiądz w towarzystwie jest, ale że z drugiej strony nie jest to niezbędnie potrzebnem. U nas mianowicie na Górnym Śląsku wielu księży ze względów politycznych usuwa się od czysto polskich towarzystw, a czyżby dla tego miały te towarzystwa nie być katolickiemi?!

„Gazeta Grudziądzka“ donosi w Nr. 16:

Obłuda „turnerów“. Niemieccy „turnerzy“ w Chełmnie do tej pory jeszcze założenia polskiego sokoła strawić nie mogą. Na ostatniem ich walnem zebraniu sprawę tę ponownie poruszono, ba, postawiono nawet na porządku dziennym wykluczenie z „ferajnu“ tych członków, którzy przystąpili do „sokoła“. Trzeba jednakże wiedzieć, że ci członkowie już sami się byli wykluczyli, gdy donieśli przewodniczącemu, iż z ferajnu występują, cała ta więc szumna scena wykluczenia tych z ferajnu, którzy sami już wystąpili, była komedyą.

Po urządzeniu tej „szopki“, wyraził przewodniczący ferajnu żal, że przez założenie sokoła spowodowanem zostało rozdwojenie w kołach obywatelstwa miejskiego. (O, wierzymy, że się niemieckim „turnerom“ dotychczasowy „misz-masz“ mógł podobać. Polaczkowie wysługiwali im się, przyczyniając się do uświetnienia ich szwabskich „festów“, za co ich za plecami z pewnością „dumme Polaken“ nazwano).

Rozwodzono się też nad tem, że przecież Polaków nigdy niczem nie obrażono i nigdy nie upośledzano. (No, a obrady, czy toczyły się w języku polskim? A komenda, czy była polska! Nie wiadomo rzeczywiście, czy takie pojmowanie równouprawnienia krańcowej zarozumiałości, czy też takiejże głupocie przypisywać należy?)

Wreszcie zaproponowali też niektórzy z zebranych, aby rozsyłaniem cyrkularzy itd. zachęcić niemieckich współobywateli do wstępowania do ferajnu, ponieważ ścisłe łączenie się wszystkich Niemców staje się coraz więcej koniecznością. Ostatecznie nie odmówiono sobie też wygadywania o wybujającej coraz więcej agitacyi polskiej, wobec której należy postarać się o mocny punkt oparcia. Przytaczano też rozmaite niby prawdziwe zajścia na dowód, że Polacy coraz bardziej wyzywająco występują i przy każdej okazyi wszystko co niemieckie ośmieszać się starają. (I cóż jest powodem tego wygadywania! Otóż złość, że Polacy się wreszcie zdobyli na założenie własnego Tow. gimnastycznego. I to ma być dowodem zaczepności Polaków. O wy niewinne baranki niemieckie, a raczej wy wilki obłudne w baranich skórach! Gniew Boży na was!)

„Dziennik Kujawski“ pisze w Nr. 28.

Wyższy nauczyciel gimnazyalny pan dr. Sieniawski przeniesiony zostaje według niemieckich gazet poznańskich z dniem 1-go kwietnia do gimnazyum w Kłodzku.

Zaczyna więc wiać ten wiatr, który całe gromady nauczycieli polskich zagnał przed kilku laty nad Ren. w Sasy, na Ślązk itd.

Pan Sieniawski już powtórnie zniewolony będzie ronić łzy na obczyznie. Przez kilka lat sechł nad Renem i dopiero niedawno wrócił z tamtąd do kraju. Teraz znów mu się każą wynosić!

„Gazeta Gdańska“ donosi w Nr. 15:

Z pod Poznania donoszą, że dziedzice Niemcy, zapewne spiskowcy K. H. T., nie wypłacają robotnikom myta w pieniądzach lecz w bonach (kwitkach), z których remi muszą chodzić do wskazanych im składów w najbliższem mieście, tam robić zakupna i bonami płacić. Jest to bezprawie. Nikomu nie wolno zmuszać robotników do przyjmowania bonów i kupowania we wskazanych składach. Panowie spiskowcy pragną widocznie zasilać groszami polskich robotników kupców sprowadzonych w celu umorzenia głodem kupców polskich.

W tym samym numerze *„Gazety gdańskiej“* czytamy:

W Grudziądzu nie pominęli „najserdeczniejsi“ nawet takiej sposobności, jak urodziny cesarskie, aby w nas uderzać. Pewien profesor nie wahał się zaszczepiać jad nienawiści w młodych sercach uczniów gimnazyalnych, podbudzając przeciw „kulturze słowiańskiej.“ Jenerał zaś pewien powiedział, iż dopiero Niemcy wydobyli kraj ten z dzikości i że armia jest silną tamą przeciw „zalewowi słowiańskiemu“ (!). Tymczasem faktem jest, że Polacy pierwsi cywilizowali Prusy Zachodnie i że Prusacy bronili się zażarcie przed „kulturą“ niemiecką Krzyżaków, zadawalniając się kulturą polską!

„Kuryer Poznański“ donosi:

Dążności protestanckie. Donosiliśmy niedawno o dziewczęciu Pelikan wychowanem w wierze luterskiej w Nytychu, mimo protestu radzcy sierót W. ks. Bartkowskiego.

Zmuszono dziewczę katolickie wbrew jego woli do pozostania przez cały rok w otoczeniu czysto protestanckiem. Nie ulega wątpliwości, że używano wszelkich sposobów, aby dziewczę od wiary katolickiej odwrócić, katolickie uczucia z serca mu wydrzeć i o ciemnocie i niewierze katolickiego kościoła przekonać! Na jakież męki wystawiono to dziewczę w religii katolickiej wychowane i rozumem rozwinięte, gdy je zmuszono do uczęszczania na naukę protestanckiej religii, do chodzenia do protestanckiego kościoła, do konfirmacyi protestanckiej i wreszcie do przyjęcia komunii z rąk protestanckiego pastora.

Z początku obchodzono się z tem dziewczęciem dosyć łagodnie, lecz niebawem postąpiono inaczej skoro list napisany przez nią do W. ks. Bartkowskiego do Pelplina zwróciła poczta z dopiskiem: „unbestellbar“ — a ten wpadł w ręce przełożonej zakładu! Teraz odcięto wszelką styczność z znajomemi jej osobami i to pod wielką groźbą, bo gdy razu pewnego przyszła do dziewczęcia jego opiekunka, która je przez 13 lat pielęgnowała i spotkała je na ulicy idące do szkoły, zaczęło drżeć ze strachu, prosząc, aby się od niej oddaliła, gdyż to spotkanie narazi ją na wielkie nieprzyjemności i cierpienia. Kobietę zaś tę, pomimo prośby, do zakładu nie wpuszczono. Więc wolno najświętsze węzły targać, byleby tylko dziecko protestantyzmowi zjednać. Zamiar ten nie tajny, bo sam superintendent wydał się z nim, oświadczając, że Marta protestantką zostanie.

Tymczasem dziewczę skończyło 12 stycznia t. r. 14 lat, przez co stała się w relijnym względzie pełnoletnią z prawem wyboru religii według życzenia. Według tego przepisu, protestancki zakład sierót traci prawo zatrzymania jej w swej opiece. Atoli protestancki zakład innego jest zdania. Nietylko że Marty z zakładu nie wypuszcza, ale nawet w swej protestanckiej tolerancyi nie wspomina jej o przynależnem jej prawie. Zdaje się, iż to czyni z troskliwości o duszę dziewczyny, że niedosyć jeszcze w ewangelickiej czystej prawdzie jest utwierdzoną.

Dnia 12 stycznia wysłała jej wychowawczyni Kurzhals człowieka zaufanego do zakładu w Nytychu, aby tenże zobaczył się z dziewczyną, pouczył ją o jej prawie, i aby się zdeklarowała do jakiej religii chce należeć. Dyakoniski jednak nie pozwoliły mu widzieć się z dziewczyną, żądając wprzód pozwolenia na piśmie od superintendenta. Superintendent odmówił pozwolenia, nadmieniając, że jeżeli sprawę będzie sądownie poszukiwał, to przed sądem nic nie wskóra!

Druga nawet wizyta była bez skutku, gdyż list rekomendowany wysłany przez X. Bartkowskiego do M. P. przyszedł napowrót z dopiskiem poczty, że adresat listu nie przyjął. Ta sprawa z listami i pocztą pójdzie przed sąd.

„Orędownik“ pisze w Nr. 28:

Niektórzy księża a lud. Znana jest wszystkim nad wyraz przykra sprawa procesu ks. Arcybiskupa z „Postępem“. Sprawa mogła się zakończyć spokojnie, bez rozgłosu, między stronami na wyrok sądu się powołującemi. Znana niesforność takich organów partyi dworskiej jak „Kuryer“ i „Wielkopolanin“ nie dopuściła do tego. Oba pisma przed wyrokiem rozpoczęły z procesu wybijać kapitał polityczny, po zapadłym wyroku „Kuryer“ wprawdzie nieco chwilowo poskromniał, za to niepoprawny „Wielkopolanin“ wybija kapitał dalej.

....Smutniejsza rzecz, że się znajdują także k s i ę ż a t a c y, którzy za przykładem „Wielkopolanina“ i „Kuryera“ wyzyskują tę sprawę w celach politycznych.

Dowód: Do „Wielkopol.“ z dnia 1 lutego piszą z Kępna że tam w Towarzystwie Przemysłowem zawsze znaleźli się tacy, co żądali zaabonowania „Postępu“, aż nareszcie, gdy „Postęp“ rzucił pogłoskę, iż z a w i e d z ą Najprzew. Arcypasterza pracowano w tumie, postanowiono na walnem zebraniu „Postęp“ wyrugować. Dopominał się o to ks. Gońskí, prob. z Słupi. W „Postępie“ skarżono się na zachowanie się ks prob. Gońskiego; korespondencyą tę z „Postępu“ odczytano w Towarzystwie i jak się dowiedzą, kto to pisał, to g o w y k l u c z ą z Towarzystwa, jeżeli jest członkiem.

Tak pisze i dekretuje „Wielkopolanin.“

Najprzód nie jest prawdą, żeby „Postęp“ pisał wyraźnie, że w tumie pracowano za „wiedzą“ ks. Arcybiskupa, tak tam nie stało; po drugie to bardzo niedobra rzecz śledzić za korespondentami do gazet i grozić im wykluczeniem.

Z Trzemeszna donoszą nam, że tamtejszy ksiądz proboszcz także wpływał na członków Towarzystwa Przemysłowego, aby „Postęp“ z Towarzystwa wyrugować. O ile nas wieści dochodzą tam nie udało się to, a powołano się tam także na znany proces.

....Postanowiliśmy sobie o procesie nie pisać więcej, ale widzimy, że prędzej czy później trzeba będzie tę sprawę zasadniczo rozebrać.

Czytelników naszych w Kępnie upraszamy, aby przyjaciół „Postępu“ dobrze pouczali, jak mają bronić swoich praw i „Postępu“ w obec nacisku ks. proboszcza Gońskiego. Dla Trzemeszna tej zachęty nie potrzeba.

Do „Gońca Wielkopolskiego“ (Nr. 28) donoszą z Gietrzwałdu:

— Poznałem, poznałem... Widzisz... któżby cię mógł w tem przebraniu poznać?

Noc śmiać się zaczęła.

— Teraz wiem, że mię poznałeś — rzekła wesoło — podajże mi rękę.

Janek podał jej ramię, Noc wsunęła rączkę swoją zgrabnie, cicho, i do Jutrzenki się zwróciła.

— Weź moja różowo Jutrzenko w opiekę Zyzia

Zyzio, usłyszawszy swoje imię tak wypowiedziane, jak tylko koledzy wymawiali, zmieszał się trochę, ale rezolutnie podał ramię Jutrzence i zawieruszył się w tłumie masek.

Gdy Janek i Noc znaleźli się razem, Noc znowu nawiązała rozmowę.

— No, teraz możesz mi otwarcie powiedzieć, kto jestem?

Janek próbował zgadnąć, ale to było rzeczą zupełnie niemożebną.

— Stu kolegów twoich widuje mnie codziennie..

— A ja?

— Widziałeś mię dziś.

— W jakiem miejscu?

Zaśmiała się srebrnym, ślicznym głosem, który jak muzyka dźwięczał, potrzęsła główką, aż się jej warkocze cudowne z pod kapturka wychyliły i rzekła wesoło:

— O, tego nie żądaj.

Spojrzeli sobie w oczy i zamyślili się oboje. Po chwilce milczenia Noc rzekła:

— Za nic... za nic!...

Słowa te wyrwały jej się nieuważnie, bez namysłu, bez chęci — wyleciały z duszy same niejako; głos i akcent zdradziły ją, tyle było w tych słowach smutku, goryczy, bólu. Zdawało się, że mówiąc: „za nic... za nic“ — płacz jakiś, wydobywający się z głębi duszy, tłumiła w sobie. Ten dźwięk mowy zastanowił Janka. Wpatrzył się bacznie w jej oczy, jakby chciał z nich prawdę wyczytać i zapytał:

— Dla czego?

Uczuł nagle, że ręka maski drgnęła pod jego ramieniem.

— Za nic... za nic... — powtórzyła tym samym głosem.

- Czy nie zasługuję na to?

Noc nie odpowiedziała bezpośrednio na pytanie.

— Pozwól mi się łudzić... — rzekła.

Brzmiało to trochę tajemniczo, trochę niezrozumiale. Byłby się jeszcze z tem wszystkiem godził, gdyby nie brzmienie głosu, takie smutne, takie bolesne, jakby jaki wielki artytysta płacz imitował. Janek nie był znawcą serc ludzkich, ale miał to czucie młodości, wrażliwe, czyste, które umiało rozpoznać szczerą wesołość i ból szczery — mimowoli powtórzył ostatni wyraz!

— Łudźmy się..

— Łudźmy się... Ach, życie także potrzebuje złudzeń i marzeń bodaj odrobinę, potem...

— A potem? — spytał Janek.

— Czy grasz na skrzypcach?

— Nie.

— Nasuwa mi się porównanie... czasem struna pod naciskiem smyczka pęka... Tak samo bywa...

W tej chwili muzyka zagrała skocznego mazura, a huk puzonów, płacz wiolonczeli, świst fletu przerwały dalszą mowę. Pierwsze tony mazura wydały się im jakimś zgrzytem niemiłym, — mimowoli przeto usunęli się dalej, w głąb sali, pod kolumny.

Janek nachylił się ku masce.

— Czy nie chcesz powiedzieć, że tak samo bywa z sercem ludzkiem.

— Tak jest.

— O, bardzo romantyczne porównanie! — zawołał.

— Tak... — odrzekła — to daleko piękniej brzmi w porównaniu niż w życiu.

Powiedziała to poważnie, spokojnie, ale smutnie.

W tej chwili spotkali się z Jutrzenką, która z Zyziem nader żywą rozmowę prowadziła. Noc uderzyła ją wachlarzem po ramieniu.

— I cóż?

— Okrutnie dyskutujemy... a wy?

— Bawimy się... — zwróciła spojrzenie na

„Przed paru tygodniami zapytywał się był „Goniec“ Warmijaków, czy prawdą jest, jakoby we Warmii usunięto, czy też wyrzucono z mszału i brewiarza modlitwy itp. do św. patronów polskich, a natomiast zastąpiono je modlitwami do patronów niemieckich.

Otóż, o ile zdołałem się dowiedzieć, to X. Krementz, były biskup tutejszej dyecezyi, miał zreformować rzecz tę, niezawodnie w porozumieniu się z Rzymem, i w tym celu usunąć z Brewiarza modlitwy do niektórych Świętych polskich i szwedzkich, a natomiast przyjęto innych.

— *ski.*

Przegląd prasy słowiańskiej.

Z powodu 30-letniej rocznicy kongresu słowiańskiego w Moskwie, pisze „Il Pensiero Slavo“ :

„Wkrótce upłynie 30 lat od ostatniego kongresu słowiańskiego, w którym z wyjątkiem Polaków i sympatyzujących z ruchem z roku 1863 Młodoczechów, brali udział wszyscy reprezentanci Słowiańszczyzny. Kongres, jak wiadomo, odbywał się z okazyi wystawy etnograficznej w Moskwie. Mimo to, że kongresowi przypisywano znaczenie demonstracyi politycznej, nie był on skierowany przeciw któremukolwiek państwu, gdyż biorącym w nim udział, zależało tylko na zadzierzgnięciu węzłów moralnych pomiędzy narodami pobratymczymi.

„Uprzytomnijmy sobie ówczesne położenie Słowian. Austrya poniosła klęskę pod Sadową, a na czele rządów stanął hr. Beust. Zaczynał on dalej opierać się Prusom i zdobywać napowrót wpływ Austryi na kraje niemieckie. W tym celu poczynił ustępstwa Madziarom, aby tem lepiej zabezpieczyć panowanie Niemców w Austryi. Beust nie widział w Austryi innych narodowości okrom Madziarów i Niemców; w jednej części monarchii jęczeli Słowianie pod jarzmem madziarskiem, w drugiej pod jarzmem niemieckiem. Mimo to Beust przy końcu życia przekonał się, że polityka jego jest niemożliwą. Madziarzy bowiem, których popierał, zawiedli go, nie zgadzając się na alians Austryi z Francyą przeciw Prusom. Prusy po zwyciężeniu Francyi zjednoczyły Niemcy i Austrya cały swój wpływ na nie straciła bezpowrotnie. Beust przed śmiercią został potępiony przez Madziarów, którym w dniu jednym stworzył królestwo. Jego następca Andrassy doprowadził Austryą do sojuszu z Prusami i Bismarkiem, wrogiem największym hr. Beusta.

„Beust umarł, ale w konsekwencyach żyją jego tradycye i dzisiaj. Trzydzieści lat mija, a Słowianie nie wywalczyli tego, co im się należy.

„Czesi, zniechęceni hegemonią Niemców, opuścili w sposób ostentacyjny sejm czeski w Zagrzebiu wobec bezpośrednio grożącego niebezpieczeństwa połączyli się Słowianie w jedno stronnictwo. W owej chwili sejm chorwacki nie chciał wysłać swych delegatów na sejm peszteński. Madziarzy, otrzymawszy po wojnie z r. 1866 samodzielność, zemścili się na Chorwatach w ten sposób, iż żadnego z swych przyrzeczeń nie dotrzymali.

„Gdy takie panowały stosunki w Austryi, dokonywali Turcy w Hercegowinie, Bośni, Staroserbii okrucieństw najniegodziwszych. Zaproszenie w takiej chwili na kongres słowiański i udział w kongresie Słowian południowych mógł być zaiste uważany jako demonstracya polityczna.

„Goście słowiańscy doznali w Rosyi ze strony ludności entuzyastycznego przyjęcia, co cara wprawiło w zdumienie. Wbrew etykiecie dworskiej i zwyczajom dyplomatycznym gości słowiańskich car powitał. Na kongresie przemawiali Palaski i Rieger. Mowy ich nie mogły być kierowane przeciw Austryi, o pierwszym bowiem wiadomo, iż wyrzekł, że gdyby Austryi nie było, trzebaby ją stworzyć. Drugi mówił z łzami w oczach o solidarności moralnej Słowian, trzymając w ręce wizerunek św. Cyryla i Metodego. Znaczenie polityczne miała przemowa jednego z reprezentantów Serbów. Entuzyazm wzbudził ten ustęp mowy, w którym wzywał Słowian do niesienia czynnej pomocy Serbom i Bułgarom. Pagodin, książę Czerkaski Subotić odpowiedzieli na mowę tę natychmiast.

„Po dziesięciu latach Rosya wypowiedziała Turcyi wojnę. Słowianom bałkańskim lepsze zawitały czasy. Czy atoli zyskała na tem słowiańska idea? Owóż dziś u u nas w Chorwacyi mianem zdrajców ojczyzny piętnuje stronnictwo prawa każdego, kto wyznaje zasady Pagodina i Palackiego! Ci z naszych ziomków, którzy w kongresie udział brali i dziś już nie żyją, z pewnością się nie spodziewali, że ich idee tak wcześnie pogrzebane zostaną. Niestety, prędzej lepiej nie będzie, dopóki Słowianie nie będą Słowianami z mienia lecz z czynu.“

* * *

Chorwacka „*Narodni List*“ pisze o ruchu literackim w Bośni i o nowym illustrowanym tygodniku literackim „Nade“, który wydaje rząd austryacki w Serajewie:

„Rząd zakłada już trzecie pismo chorwackie w Bośni. Najpierw kosztem rządu powstał miesięcznik bośniacko-hercegowińskiego towarzystwa archeologicznego, dalej tygodnik pedagogiczny, obecnie wychodzi pismo beletrystyczne o wyglądzie tak pięknym, żeby się pisma tego Paryż nie powstydził. Redakcya „Nady“ płaci za wiersz drukowany 7 centów autorom, pismo to będzie więc dla literatów serbskich pożądanem miejscem zbytu. Tem więcej się cieszymy, że pismo powstaje w smutnych czasach obecnych. Rozdział na tle politycznem począł oddziaływać ujemnie na literaturę. Pismo bez zabarwienia politycznego będzie nas jednoczyć, literatura spełni więc swoje szczytne zadanie: jednoczenia narodu.“

* * *

Do pisma chorwackiego „*Crvena Hrvtska*“, wychodzącego w Dubrowniku, tak piszą z Banjaluki:

„Madziaryzacya szerzy się u nas, a proteguje ją rząd. Myślałby kto, że my Chorwaci jesteśmy popierani przez rząd na przekór Serbom, ale tak nie jest. Wybudowaliśmy własnym kosztem ratusz, a w dzień cesarskich urodzin wywieszono na nim madziarską chorągiew. Kiedy roku zeszłego powiewała na nim chorągiew chorwacka, wytoczono śledztwo, a nasz żupnik Kotromanowic wytłómaczył się, iż go w domu nie było i jego zastępca zawinił.“

„Smutnie wygląda w naszych zakładach szkólnych preparandach i gimnazyach. Obojętność ludności katolickiej i chorwackiej wobec oświaty jest tak wielka, jak nigdzie bardziej. Nieznaczny tylko poczet jest uczniów chorwackich. Ale temu dziwić się nie można, bo nasze katolickie duchowieństwo wrogo przeciw tym instytucyom występuje. Sam byłem świadkiem, jak pewien ksiądz ofuknął zamożnego wieśniaka, gdy dopytywał się u niego, gdzieby syna w naukę oddać. Dla katolików nie trzeba szkoły („za katolike ne treba szkoła“), tak brzmiała odpowiedź...“

K.

BADANIA NAUKOWE.

Wyprawa Payera
do bieguna Północnego.

Znany podróżnik niemiecki, zamieszkały w Wiedniu, Juliusz Payer, odkrywca t. zw. Kraju Franciszka Józefa, towarzysz ongi sławnego

---

Janka — prawda? — spytała.

Zanim jednak Janek dał odpowiedź, Jutrzenka skinęła ku nim głową, rzekła do widzenia — i w tłumie znikła.

Janek odczuwał, że nastrój wesoły, swawolny, młodzieńczy, z którym na bal przyszedł, począł go opuszczać powoli, a opanowywało go natomiast inne jakieś uczucie — pełne smutku z radością, które mu sprawiało zadowolenie, rozkosz, przyjemność. Odbierał wrażenia harmonijności, melodyjności — zupełnie jak gdyby słyszał muzyki nieznanych mu instrumentów i rytmiczność ich odczuwał wszystkiemi nerwami.

— Zamyśliłeś się? — spytała go maska.

— Istotnie... coś się ze mną stało...

— Ciekawa jestem wiedzieć?

— Odbieram wrażenie innej zupełnie muzyki, niż ta, która na galeryi takty mazura wybębnia.

— A to „echo grało...“

— Czyje?

Rzuciwszy to pytanie, Janek ku zdziwieniu swemu spostrzegł, że Noc go zaczęła interesować. Rozmowa nawiązana niby niechcący, prowadzona niby bez planu i myśli, coś jednak miała w sobie niezwykłego, tchnęła uczuciami i wrażeniami, które go podniecały, ożywiały, a co ważniejsza z pod ciemnego kapturka nocy przepływał do jego duszy smutny i rzewny prąd, który opanowywał go powoli. Dla tej nieznanej osoby, obdarzonej ślicznym, melodyjnym głosem, kształtną figurą, wyrzeźbioną ręką, królewską postawą, uczuwał szczerą sympatyę. Dostroił się do niej, jak się dostrajają do siebie dwa instrumenty muzyczne.

Na pytanie: czyje? Noc nie odpowiedziała wcale. Czy skoczna i hałaśliwa muzyka mazura, czy wrzawa tysiąca głosów, w jeden zmieszanych, przeszkodziła jej? Nie odpowiedziała jednak, ale nagle zwróciła rozmowę na inny zupełnie temat.

— Nad czem pan teraz pracuje? — spytała.

Zastanowił go wyraz „pan“, chętnie omijany na balu maskowym.

— Pan?

Wtem takty mazura urwały się i cała falą wesołych skoczków uderzyła na szeregi spacerujących spokojnie panów i pań. Potrąciła o Noc.

— Zdławią nas.., — rzekła.

— Uciekajmy ztąd.... trzymaj się mocno....

Noc przycisnęła się do jego ramienia tak silnie, że czuł uderzenia jej serca.

— Serce ci bije... zauważył przeciskając się przez tłum.

— Bije... jeszcze...

— Potrącił kto ciebie?

— Nie...

Uczuł, że się przycisnęła do jego ramienia giętkiem, kształtnem swojem ciałem jak pieszcząca się kotka. Coś się z nim dziwnego stało; doświadczył takiego uczucia, jak gdyby ta kobieta była dla niego czemś więcej niż życie. W tej chwili byłby w ogień za nią skoczył. Dreszcz przebiegł po całem ciele, a pozostało po nim jakieś zadowolenie i wrażenie dumy i siły. Zdawało mu się, że przeciskając się przez tłum pstrokaty, prowadzi pod ramię siostrę lub kochankę. Zaprowadził ją do kozety, w kącie stojącej wśród olbrzymich figusów, tuj, oleandrów — i usiedli. Błogie uczucie zadowolenia opanowało go. Noc, siadając, podała mu rękę, i rzekła słodkim swoim łagodnym głosem:

— Dziękuję.

Usiadła i nie pozwoliła przyjść do głosu Jankowi.

— A więc... nie odpowiedziałeś mi na ostatnie pytanie: nad czem pracujesz?

— Nic nie robię...

— O, nie! Nie jesteś z tych ludzi... nie wierzę.

Rzewność, z jaką te słowa powiedziała, zastanowiły Janka. Zaśmiał się przymuszonym śmiechem, suchym, bezdźwięcznym, ażeby pokryć uczucia i wrażenia, które nim miotały.

— Nie wierzę.... — powtórzył — dla czego?

— Czytałam twój poemacik „Zwycięstwo“.

Janek chciał wszystko w żart obrócić.

— Winszuję.,. dziwię się twojej cierpliwości

Weyprechta, w pierwszych dniach bieżącego roku podniósł w prasie myśl wyzyskania podbiegunowych okolic, wyłącznie dla celów artystycznych i uzasadnił ją w sposób tak energiczny i porywający, że wszelki pesymizm co do możliwości jej przeprowadzenia zamilknąć musiał. Zdaniem Payera świat podbiegunowy, przedstawiony powszechnie jako smutna, martwa ponura kraina wiecznego lodu i śniegu, w rzeczywistości wygląda inaczej, obfituje w istne skarby światła i barw, a zwłaszcza wybrzeża północno-wschodniej Grenlandyi, powetowałyby sowicie trudy podobnej wyprawy. Śmiały podróżnik zamierza więc wybrać się na specyalnie w tym celu zbudowanym parowcu o sile dwustu koni, z załogą dalmatyńskich majtków, pod wodzą trzech oficerów marynarki. Oprócz techników, maszynistów, preparatorów i strzelców projektodawca, jako kierownik ekspedycyi, chce zabrać z sobą dwóch pejzażystów, jednego malarza zwierząt i fotografa, gdyż w pierwszej linii celem dalekiej podróży ma być zdejmowanie widoków i odtwarzanie przyrody tych nieznanych krain. W drugim rzędzie dopiero i o ileby wyprawa przekroczyła 77-my stopień północnej szerokości, służyłaby zarazem badaniom naukowym. Jeżeli wykonaniu projektu nie staną w drodze nieprzewidziane przeszkody, to wspomniany parowiec wyjedzie z portu bremeńskiego w czerwcu 1896 r. Wyprawa ma potrwać od jednego do dwóch lat. Pod 64-ym stopniem szerokości rozpoczęłyby się właściwe studya malarskie, które prowadzone być mają w dalszym ciągu podróży aż do jej kresu, jakiego dziś jeszcze sam autor pomysłu oznaczyć nie potrafi. Payer, który sam zna dobrze odległą północ, gdyż trzy razy już w życiu sport takich wypraw uprawiał, zapewnia, że kto, jak kto, ale pejzażyści szczególnie przywiozą z tej podróży zupełnie nowe, nieznane dotąd wrażenia, które sztuce malarskiej odmienne wskażą tory i nawskroś oryginalną cechę nadadzą.

Pierwsza moja wyprawa do bieguna Północnego — mówi Payer — a w szczególności do tych stron Grenlandyi, które tym razem dla mnie będą „podstawą operacyjną“, pod kierownictwem sławnego geografa Petermanna, trwała półtora roku. Starałem się zbadać Grenlandyę dokładnie i szczegółowo. Dotarliśmy wtedy do 77 stopnia a dalej na północ, od owego czasu nikomu jeszcze dostać się nie udało. Na kartach widzimy wprawdzie wybrzeża zarysowane wyżej ku północy i oznaczone nazwiskiem Lamberta, jako tego, który je rzekomo miał odkryć, ale to zwyczajny myt, bajka, którą każda nowa mapa powtarza... Wschodnia Grenlandya odznacza się wspaniałą i niemal bujną wegetacyą wiosenną, posiada około 400 gatunków roślin kwitnących, trawę na łokieć czasem wysoką, wogóle przedstawia się dla malarzy, jako kraj niezwykle ponętny i wprost sprzeczny z dotychczasowemi opisami... Coprawda, klimatyczne warunki tamtejsze nie bardzo się uśmiechają i potrzeba niezwykłego umiłowania przyrody obok żelaznej woli, aby w Grenlandyi wschodniej chcieć malować, rysować, lub szkice sporządzać. Przyznaje to sam Payer, opowiada jednak, że pracował nieraz przez 4 godziny bez przerwy przy temperaturze 40—50 stopni niżej zera. „Nie przeczę, że aby znieść tego rodzaju „nieprzyjemności“, uzbroić się trzeba w nieugiętą wolę. Nieraz już było tego za wiele nawet psom moim, które mi zawsze wiernie przy studyach towarzyszyły. Poczciwe stworzenia, gdym nie chciał zrozumieć, czego żądają, uderzały mnie tak długo łapami, dopóki nie uczyniłem im wreszcie zadość i nie zawróciłem do „domu“. Jeszcze większego poświęcenia wymaga robienie pomiarów przy pomocy metalowych przyrządów, których poprostu dotknąć się nie można, bez gwałtownego, dojmującego bólu. A gdy przy panujących mrozach zerwą się wichry i mrozy, wtedy już nadludzkiej potrzeba wytrwałości, aby wyjść z nich zwycięzko...

Tem wszystkiem Payer ani na chwilę się nie zraża i jest silnie przekonany, że śmiałe przedsięwzięcie w zupełności mu się powiedzie. Wierzy w swą szczęśliwą gwiazdę. „W bitwie pod Custozzą mogłem być pewny, że mnie kula nie minie, a przecież wyszedłem cało... W roku 1868, gdym zdejmował grupę Ortlerską, spadłem razu pewnego z wysokości siedmiuset stóp z lodowca i nic mi się nie stało. Wówczas powiedziałem sobie, że koniec mój jeszcze daleki. A jakim niebezpieczeństwom uchodziłem już w moich biegunowych wyprawach!“

Awanturniczy duch, idący w służbę dla wyższych, szlachetnych celów, dla myśli swej zjednał od razu, jak najsympatyczniejszą opinię. Payer, sam niedość zamożny, aby zebrać odpowiednie fundusze, postanowił propagować swój projekt we wszystkich sferach, w towarzystwach naukowych, większych miastach, wszędzie, gdzie się tylko da. Nie można wątpić, że niezmordowana ruchliwość uwieńczy jego starania pomyślnym skutkiem. Nieznajomy jakiś mecenas podbiegunowego malarstwa ofiarował już, jak doniosły dzienniki, wcale poważną, jak na początek sumę 10,000 złr. Zapowiedź to w każdym razie niezła, gdyż daje rękojmię, że plan nowej wyprawy do bieguna Północnego nie rozwija się w mglistych marzeniach.

Dodam w końcu, iż Payer znany jest publiczności warszawskiej ze swych doskonałych widoków podbiegunowych, które, wystawione w Salonie Krywulta, słuszne budziły zajęcie.

Rozpisałem się szerzej nieco o tej ekspedycyi, bo przypuszczam — kto wie? — że i wśród naszych rodaków znajdzie się może amator, któryby się chciał do tej wyprawy przyłączyć.

Snop.



CONDORCET

um. 1794.

I.

W galeryi wielkich, a w części i nieśmiertelnych typów, jakie na polu teoryi i praktyki wydała Francya w drugiem pięćdziesięcioleciu XVIII w., Condorcet*) zajmuje stanowisko na wskroś odrębne, a wybitne. Budzi ciekawość nie tylko badacza i historyka, ale i estetyka, zajmuje nie tylko jako człowiek, który żył i działał, służył ideałom i cierpiał, ale i „jako taki“, jako typ ludzki, jako problemat „psychologiczny“, matematyk, ekonomista i publicysta; zwiastun gminowładztwa, autor reform w wychowaniu publicznem oraz konstytucyi 1793 r.: wreszcie twórca nauki, która głębiej, niż teorya Vico chwyta zagadnienia z dziejów kultury ludzkiej — takie oto niezmierzone koło zataczała myśl wielkiego męczennika, którego rocznicę śmierci stuletnią obchodziła Francya w roku ubiegłym.

Z pochodzenia należał Condorcet do starej szlachty i dzięki temu otrzymał wychowanie u Jezuitów. Nie obiera atoli zwykłej drogi swych towarzyszów i nie szuka szczęścia w służbie wojskowej albo w urzędach teologicznych, ale idzie prosto przed siebie, ku skałom nauki. Już w 22 roku życia ogłasza pierwszą swą pracę z dziedziny wyższej matematyki. W kilka lat później sława jego jako uczonego staje się tak wielką, że Akademia mianuje go swym sekretarzem. W tym charakterze Condorcet musiał w przeciągu 17 lat wygłosić 61 charakterystyk najróżnorodniejszych pisarzy i uczonych: fizyków, botaników, ekonomistów. Rzecz jasna, że wiedza jego wskutek tego powiększyła się olbrzymio, umysł nabrał sprężystości i wykształcił się pod względem me-

---

Ona zamilkła na chwilę, i tak siedzieli milcząc, wsłuchani w hałas i w rozmowy tańczących, w chaos tonów; siedzieli niby pomieszani, niby poważnieni ze sobą kochankowie, którzy przez chwilę odwracają się w dwie przeciwne strony i dąsają się, ażeby tem namiętniej rzucić się potem w objęcia.

Noc odezwała się znowu.

— Bohaterów swoich obdarzyłeś taką wolą silną, taką energią, że...

Zatrzymała się, jak gdyby wyrazu odpowiedniego szukała.

— Że?... Ciekawy jestem końca.

— Że taką wolę i taką energię poeta we własnej duszy chować musi, ażeby tchnąć ją w bohaterów. — Spojrzała na niego i spytała:

— Czy nie prawda?

— Może prawda.

Noc ciągnęła dalej:

— Wszystko zmarnować można; woli i energii nigdy! Ona przejdzie w czyny ludzkie, w pracę i tam ją, kto zechce, odszuka. Ty jesteś bardzo bogaty...

Jankowi mąciło się w głowie, słuchając tego wszystkiego.

— Cóż mi u licha jest? — myślał. — Czuję, że serce żywiej i mocniej uderza, że ta kobieta działa na mnie, jakbym był pod wpływem jej czarów i uroków... No, nie zakochałem się przecież jak żak szkólny w ciągu godziny?

Zamiast odpowiedzieć samemu sobie na to pytanie — zamilkł. Niechcący i bezwiednie poczęło się wytwarzać położenie dziwne, niejasne, niezdecydowane, nie mające nic wspólnego z pierwotnemi zamiarami tańczenia i bawienia się. Patrzyli obaj na salę balową oświetloną, ożywioną rozbawionemi tłumami, drgającą promieniami świateł i dźwięków. Milczenie to przerwała Noc.

— O czem teraz myślisz? — spytała.

— O sobie.

— I... o mnie — dodała — prawda?

— Tak jest.

— Widzisz... będziesz miał przynajmniej kilka świeżych i nowych wrażeń z tego balu... Dowiedziałeś się, że jesteś bogatym...

Mowa o bogactwie wywołała w nim uczucie głodu, który nagle uczuł, stłumił je w sobie jednak.

— Chcesz wiedzieć co o mnie myślisz? — spytała Noc.

— I owszem... ciekawy jestem...

— Myślisz, że tego, co odemnie słyszałeś, nikt ci jeszcze w życiu nie mówił.

Nie czekała odpowiedzi, tylko sama do siebie rzekła:

— Ach, jak gorąco!... Nieprawdaż?

— Istotnie.

Noc położyła wachlarz i szybkiemi nerwowemi ruchami poczęła rękawiczki ściągać; ściągnęła i na wachlarz rzuciła. Janek spojrzał na jej ręce białe, kształtne, alabastrowe. jak gdyby skopiowane z jakiegoś greckiego modelu.

— Prawda, że zgadłam? Nie przeczuwałeś, że na balu maskowym możesz spotkać kobietę...

— Jaką?

— Dziwną co najmniej.

— Bardzo dziwną...

Położyła swoją rękę na jego ręku i rzekła cichym głosem:

Dotknięcie jej ręki zelektryzowało go.

— Zaciekawiasz mnie.

— Dlatego, że jestem w masce...

Nagle podniosła rękę i skinęła nią w powietrzu ku sali.

— Patrz... widzisz?... kolega twój tańczy z Jutrzenką.

— Chcesz tańczyć? Zawołam Zyzia...

— O, nie! wolę z tobą rozmawiać.

— Kiedy jesteś zbyt tajemnicza.

— Tem lepiej dla ciebie i dla mnie, mamy chwileczkę złudzenia.

— Ach, już drugi raz mi o złudzeniu mówisz!

Ona zaśmiała się swoim smutnym, srebrnym głosem i rzekła:

— Bawisz się, widzę...

(*Dokończenie nastąpi.*)

todycznym niezwykle. Czas sam skierował jego myśli na pole ekonomicznych zagadnień. Nie teoryzując wiele i nie próbując być oryginalnym, starał się zasadę fizjokratów popularyzować na gruncie kwestyi bieżących. W r. 1775 wychodzą jego „Listy rólnika pikardzkiego do do protekcjonisty“, w których zbija Nekkera i broni wolnego handlu zboża. W tymże roku wydaje swoją znakomitą pracę o monopolu i monopolistach, prawdziwe arcydzieło polemiki, a w kilka miesięcy później żąda („Rozmyślania o pańszczyźnie“) wykupu wszystkich praw feodałów na ziemię w drodze umowy dobrowolnej z włościanami.

Następny rok przynosi najważniejszą jego pracę ekonomiczną o „Handlu zbożem“, w której najlepiej ogniskują się jego poglądy ekonomiczne — stanowiące nie więcej i nie mniej. jeno silny oddźwięk z teoryi fizjokratów. Nie zasługują one na to, ażebyśmy zatrzymywali się nad nimi dłużej, gdy chodzi nam tylko o podkreślenie głównych rysów fizjonomii Condorceta-myśliciela. Jedną tylko uczynimy uwagę. Condorcet był największym przedstawicielem fizjokratyzmu w dobie konwentu. Nie opuszczał żadnej sposobności, przy której można było popularyzować poglądy, w które uwierzył. A przytem — rys odbijający niezwykłem światłem tę postać od ogólnego tła naśladowców w nauce — jest dla niego coś wyższego nad dogmat nauki: dobro narodu. Aczkolwiek więc stał na stanowisku swobody ekonomicznej (laissez faire, laisser passer), nie wahał się ogłosić obowiązku państwa dostarczania pracy biednym. Wobec takiego ustroju i nastroju myśli postać Condorceta zdaje nam się promienieć światłem raczej naszego, niż zeszłego stulecia.

Condorcet nie był filozofem z zawodu. Nie pisał nic z zakresu czystej metafizyki. Na podstawie innych jego prac można dopiero odtworzyć jego poglądy na zadania filozofii. Szczerze nienawidzi wszystkich gasicieli wiedzy. Zgadza się z Wolterem, że „im ludzie więcej będą myśleć, tem mniej będą nieszczęśliwymi“. Źródło sprawiedliwości znajduje w bólu, jaki nam sprawia widok cierpienia bliźnich naszych. „Dobro ludzkości, owa najważniejsza troska serc szlachetnych wymaga wolności sądu i sumienia, gdyż tu tylko wolność może ugruntować braterstwo ludzi“. Condorcet dowodzi w dalszym ciągu, iż tolerancya jest konieczną ze względu na trwałość rządu; ona jedynie tylko znosi możliwość zaburzeń wewnętrznych, gdyż uchyla w zasadzie wszelki powód ich powstania. Poglądy polityczne Condorceta z wielu względów zasługują na bliższe rozpatrzenie. „Mogę się tylko pogodzić z konstytucyą opartą na zasadach równości praw człowieka“ — pisał jeszcze w r. 1787. Z tego powodu żądał równouprawnienia kobiety. Dla czego — pyta — nie ma kobieta korzystać z praw politycznych? Dla czego jej ciąża ma jej stać na przeszkodzie ku temu, wtedy, gdy podagra nie szkodzi mężczyznie pod tym względem. Jeżeli zgodzimy się nawet, że wyższość mężczyzny nie zależy tylko od wykształcenia — co jeszcze daleko nie jest dowiedzionem — to jednak przyznać należy, że ta wyższość objawia się w dwuch tylko kierunkach. Kobiety nie wydały dotąd geniuszów w nauce, literaturze, sztuce. Alboż tylko geniusze posiadać mają prawa polityczne? Mówią dalej, że kobiety nie posiadają tyle, co mężczyzni rozumu. Jeżeli z szeregów mężkich wykluczymy niewielką ilość wyjątków wybitnych, to reszta będzie pod względem umysłowym równą kobiecym zdolnościom. Na to się zgodzi każdy, w liczbie zaś wyjątków czyż nie znajdziemy Elżbiety angielskiej, Maryi Teresy, Katarzyny II? Prawda, że interesy kobiety różnią się od naszych; znaczy to to tylko, że w postępowaniu swem mogą się kierować innemi, niż my zasadami. Większą część różnic, jakie istnieją między płciami, stworzyło wychowanie, szkoła, otoczenie. Mówią jeszcze, że uprawnienie polityczne kobiet zwiększa ich wpływ na mężczyzn. Któż atoli zaprzeczy, że wpływ bywa gorszym, jeżeli działa w ukryciu.

Charakterystyka Condorceta byłaby żadną poprostu, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na jego zalety, jako człowieka. Trudnoby przyszło nam zrozumieć inaczej przyczyny, które kazały matematykowi zwrócić się od abstrakcyi do rzeczywistego życia. Jak zwykle, tak i tutaj przechowały nam najwięcej materyału kobiety. Żona jego przyjaciela akademika Suarda oraz panna Lespinasse, nazwana „Muzą Encyklopedyi“ — świadczą zgodnie, że naczelną jego cnotą była dobroć. „Natura obdarzyła go wielkim rozumem, znakomitym talentem, gorącą duszą. Talent sam jeden uczyniłby go znakomitym, ale piękna dusza jego zdobyła mu przyjaciół w osobie wszystkich, którzy go bliżej znali. Nie tylko kobiety, ale nawet sam złośliwy Grimm nazwał go „dobrym Condorcet“. W r. 1772 zazdrości on Turgotowi, że ten „uczynić może zadosyć namiętności swej dla dobra powszechnego. Takie zadowolenie stawiam wyżej nad samą jedną tylko naukę.“ Święty ogień służby społecznej, który gorzał zawsze w sercu jego, nie pozwalał mu myśleć o osobistych interesach. Kiedy Turgot zamierzał powołać go na dobrze płatne stanowisko inspektora mennicy, Condorcet odmówił. Darmo wraz z d'Alembertem pełnił obowiązki radzcy ministeryum morskiego i przeszedł następnie wraz z Turgotem do ministeryum finansów. Tutaj zadawalała go skromna posada zarządzającego komitetem zrównania miar i wag. Rezultatem jego pracy był przyjęty przez konstytucyę system dziesiętny, system, na rzecz którego Condorcet agitował sam za granicą. Pisał w tym względzie n. p. do Stanisława Augusta. Kiedy został powołany do korpusu prawodawczego, uważał za słuszne złożyć z siebie wszystkie poprzednie obowiązki. Jako mówca nie czynił wrażenia. Rzadko widziano go na trybunie. Natomiast w literaturze pamfletowej — która się wtedy zaczynała rozwijać — i w dziennikarstwie walczył zawzięcie i znakomicie o ideały swoje. Pracował początkowo w „Journal de Paris“, a następnie we własnej „Bibliotece działacza publicznego“. Tutaj drukuje szereg kompilacyi: z Arystatelesa, Machiawella, Bodina, Bacona. Adama Smitha. Tutaj wyszły jego cztery memoryały o wychowaniu narodowem — podwalina jego późniejszej sławy. Zakłada pierwszą gazetę republikańską, która atoli nie liczyła swego życia na lata. Condorcet był także profesorem. „Liceum“, założone na kilka lat przed w. rewolucyą, liczyło go w szeregu swych nauczycieli. „Liceum“ to może się nazywać kolebką socyologii, tutaj bowiem nie tylko wykładał Condorcet, ale i A. Comte (liceum zostało zamknięte w r. 1848). W pracach, które zawdzięczamy jego profesorskiej działalności, jak również i w mowach akademickich, o których mówiliśmy już wyżej — odnaleźć możemy pierwsze zawiązki jego znakomitej próby zbudowania dziejów cywilizacyi, albo według słów Comte'a — dynamiki społecznej. I tak n. p. w mowie wypowiedzianej w r. 1782 słyszymy: „każde odkrycie naukowe jest dobrodziejstwem dla ludzkości. W szeregu wielkich tryumfów nauki w XVIII w: i to zajmuje miejsce wybitne, że nauki społeczne z każdym dniem stają się równe co do ścisłości naukom fizycznym. Oparte na spostrzeganiu faktów muszą posiłkować się tą samą metodą i zdobyć tę samą ścisłość terminologii“. Condorcet słusznie czyni uwagę, dla czego rozwój nauk spo-

---

„POWIESIĆ GO.“ *)

Tłum. Cz. N.

„Było to w roku 1805, krótko przed bitwą pod Austerlitz“, zaczął mój stary przyjaciel. Pułk, przy którym służyłem, stał w Morawii. Surowo było nam zakazane mieszkańców uciskać. Lubo byliśmy ich sprzymierzeńcami, spoglądali na nas krzywem okiem.

Miałem bursza, byłego służącego mojej matki, nazwiskiem Igor. Był to poczciwy i cichy człowiek. Znałem go od dziecka i uważałem go za przyjaciela.

W tem pewnego dnia powstał w domu, w którym mieszkałem, głośny krzyk i lament. Ukradziono gospodyni dwie kury, a ona posądziła o to mojego bursza. Przeczył temu i odwoływał się na mnie. On, złodziejem! On, Igor Awtamanow! Zapewniam ją uroczyście, że Igor jest poczciwym człowiekiem, ale ona o tem słyszeć nie chciała.

Wtem nagle dał się słyszeć na ulicy głośny stuk kopyt: był to jenerał kymenderujący, który ze sztabem swoim przejeżdżał. Jechał stępo, szeroko, butnie, niedbale; epolety zwieszały mu się na piersi.

Gospodyni zauważyła go i rzucając się naprzeciw jeźdźcowi, chwyciła za strzemię, padła na kolana i z rozpuszczonemi włosami zaczęła ubolewać, równocześnie wskazując ręką na mojego bursza. „Jenerale!“ jęczała, „Ekscelencyo! wymierz sprawiedliwość, broń nas, ocal nas! Ten żołnierz obrabował mnie:“

Igor stał na progu, wyprężony jak struna, z piersią naprzód, noga przy nodze, z czapką w ręku i — żadne słowo!

Czy go zmieszał widok tych oficerów sztabu, którzy przystanęli na środku ulicy? Czy już skamieniał z powodu nadejścia nieszczęścia, które nań jak piorun z nieba uderzyć miało. Stał prosto jak świeca, mój Igor, z drgającemi powiekami, blady, jak płótno.

Jenerał przelotnie rzuciwszy nań roztargnione spojrzenie, w którem się objawiała jakaś ponurość, odmruknął chrapliwie: „No cóż?“

Igor stał wciąż jeszcze nieporuszony i pokazywał głupkowato zęby; spoglądając nań z boku, zdawało się, że ten chłop — się śmieje!

Na to jenerał wyrzekł bez namysłu: „Powiesić go!“ Spiąwszy ostrogami konia, pojechał dalej, z początku stępo, potem pospiesznym kłusem. Cały sztab w mgnieniu oka tuż za nim podążył, tylko jeden adjutant odwrócił się na siodle, przelotne rzuciwszy wejrzenie na Igora.

Niepodobna odmówić posłuszeństwa. Porwano Igora, aby go ukarać.

Zbladł jak wosk, zawołał dwa razy szukając słów: „ojczulku — kochany, dobry ojczulku:“... i szeptał: „Na Boga, to nie byłem ja!“

Płakał rzewnie i pożegnał się ze mną. Ja zaś byłem w rozpaczy.

„Igorze, Igorze, dla czegoś do jenerała nic nie mówił?“

„Na Boga, to nie byłem ja!“ powtórzył ze łkaniem nieszczęśliwy.

Gospodyni nawet ze strachu zdrętwiała. Niestety — tak groźnego nakazu nie spodziewała się. Teraz przyszła na nią kolej płakać i ubolewać.

Każdemu z nas przysięgała nieszczęsnego ocalić; oświadczyła, iż kury jej się znalazły, iż chce wszystko wyjaśnić.

Oczywiście, to wszystko nic już nie pomogło. Prawo wojenne, — karność, panie!... Gospodyni przeraźliwie płakała i łkała, że i kamienie by poruszyła.

Igor, którego pop pośpiesznie spowiedzi wysłuchał, zwrócił się do mnie i rzekł:

„Powiedz jej Wasza Miłość, iżby tak nie rozpaczała... ja już jej przebaczyłem!“

Mój przyjaciel powtórzył te ostatnie słowa swojego bursza szepcąc: „Mój kochany Igorze mój gołąbeczku, — ty poczciwcze!“ I łza za łzą płynęła po jego starych licach...

---

*) Nowelkę tę osnutą na podstawie słów Iwana Turgieniewa umieścił niedawno A. G. Suttner w czasopiśmie „Die Waffen nieder“, umiejętnie redagowanem przez żonę jego Berthę Suttner, autorkę sensacyjnego w swoim czasie romansu „Die Waffen nieder“.

łecznych postępuje wolniej, niż w naukach fizycznych. Jakkolwiek bowiem punktem wyjścia w obu szeregach są spostrzeżenia, to jednak zawdzięczamy takowe osobom, które czynią je subjektywnie. Są to wszystko twierdzenia, któreby podpisał pozytywizm nowego stulecia. Celem nauk społecznych jest według Condorceta szczęście człowieka. Z racyi tego protestuje on przeciwko pessymistycznym poglądom Russa na wpływ nauk. Condorcet wskazuje na to, że wojny stały się rzadsze i mniej krwawe, że prześladowania religijne ustały, stały się mniej silne. „Amerykanie, zrywając własne kajdany, wskazali na konieczność zdjęcia takowych z rąk ich niewolników. Oni pierwsi uznali wszystkich obywateli swego państwa za równych w obliczu prawa. Okrzyk królowej portugalskiej, że w jej państwie nie będą się więcej rodzić niewolnicy, zdaje się być zwiastunem tej chwili, kiedy przeżytki barbarzyńskiej polityki XVI stulecia złożone zostaną do archiwum wspomnień. Nie tylko na obyczaje oddziaływa dodatnio postęp nauki — ale i na sztukę. Literatura piękna zyskuje na rozszerzaniu wiedzy, w dowód czego Condorcet przytacza Woltera, którego talent rozwinął się pod wpływem nagromadzonych wiadomości. „Sztuka polega na naśladownictwie: jasnem więc, że nowe i lepsze spostrzeżenia dają artyście nowe punkty wyjścia; stwarzają nowe kombinacye, które uczynią jego twórczość oryginalną“. Comte uważał za podstawę swej filozofii jedność wiedzy ludzkiej i związek oddzielnych gałęzi nowej wiedzy. Jeszcze w roku 1784 w apologii d'Alemberta mówi uczony nasz: „nauki związane są ze sobą nierozerwalnym łańcuchem, a tam, gdzie się stykają, okazują jedna drugiej wielkie usługi“. Condorcet atoli dalekim był od myśli uczynienia pomocy owej zależną od porządku hierarchicznego, w jakim nauki te postępują za sobą. On nie ma Comte'owskiej klassyfikacyi wiedzy według zasady zmniejszającej się abstrakcyjności; co więcej uznaje nawet możliwość bezpośredniej pomocy matematyki przy rozwiązywaniu zagadnień socyologicznych.

T. K.

*) Materyał faktyczny do rozprawki niniejszej zapożyczamy u prof. M. Kowalskiego. Por. jego znakomitą charakterystykę: Condorcet 1894.

Witold Pruszkowski.

(Sylwetka)

(Dokończenie.)

Z kolegów Pruszkowskiego jeden tylko Picard miał rzeczywisty pociąg do historycznego malarstwa — inni go nie posiadali. Piwnicki, któremu w Monachium przyznano medal za martwą naturę, męczył się nad historycznemi obrazami, malował konie i bitwy, aż wreszcie ustał ze szkodą dla sztuki, bo miał talent niezaprzeczony, ale nie w tym kierunku. Niedaleko zaszedł Abramowicz, jako malarz historyczny, choć z tych czasów pochodzi znajdujący się w Muzeum narodowem „Wierzynek“. Hipolit Lipiński, mimo wyraźnego niezadowolenia Matejki, malował sceny rodzajowe, zwłaszcza targi, a chcąc wreszcie zniewolić dla siebie dyrektora, wynalazł coś pośredniego między obrazem historycznym, a rodzajowym, zaczął bowiem pracować nad „Konikiem Zwierzynieckim z końca zeszłego wieku,“ aby wprowadzić do obrazu starą architekturę i tradycyjne ubiory mieszczan i szlachty. Nie szło mu z tem jednak, przemalowywał obraz, zmieniał i w rezultacie go nie skończył; jeszcze później parę razy, już w kilka lat po wyjściu ze szkoły, starał się wrócić do tego tematu, ale zawsze napróżno, zawsze był niezadowolony, pozostawił po sobie tylko kilka wielkich szkiców do „Konika“ z różnych czasów, jako dowód, że nie każdy talent da się naciągnąć do narzuconego sobie tematu. Jeden Benedyktowicz poprzestawał na własnym kierunku; namalował ówczas piękny obraz „Nad mogiłą powstańców“, oraz kilka lasów sosnowych i leśnych gęstwin, wśród których wzrósł i wychował się. Matejko dał mu pokój, ze względu na wyjątkowe warunki artysty, na brak rąk straconych w powstaniu, który to brak nie dozwoliłby mu tworzyć wielkich kompozycyi historycznych...

Jeżeli kto, to Pruszkowski ze swoją olbrzymią poetyczną fantazyą nigdy nie marzył o zdobyciu palmy na polu historycznego malarstwa. A jednak trzeba było uczynić ustępstwo dla Matejki. Pogodził je sprytnie ze swojem wrodzonem zamiłowaniem. Namalował niby to obraz historyczny, bo posłów wzywających Piasta na tron książęcy. Tylko przedewszystkiem był tam krajobraz ze ślicznemi kwitnącemi błoniami, na tle których odbijał się orzeł biały na czerwonym sztandarze, a zamiast kontuszów, aksamitów i karabel, które byłyby anachronizmem, skóry zwierząt leśnych pokrywały aktorów tej legendowej sceny. Obraz ten, lubo miał w sobie piękne „partye“, nie ziścił nadziei pokładanych w zdolnościach młodego malarza, rozczarował nieco tych co mu świetną przyszłość przepowiadali. W kolonii monachijskiej bowiem, kiedy ją opuszczał Pruszkowski, istniało silne przekonanie, że w krótkim czasie imię jego w świecie artystycznym tak zabłyśnie, że zaćmi nawet tych, co największym cieszyli się rozgłosem. Główną wadą obrazu było nieharmonizujące ze sobą połączenie legendy ze skrajnym realizmem w traktowaniu.

I dość czasu upłynęło zanim ziściły się przepowiednie monachijskie. Było to nieco z winy wyłączności kierunku Matejki, ale może daleko więcej winy z samego artysty. Była to natura nieokiełznana, szukająca dla siebie dróg nowych, lubująca się poniekąd w dziwactwach. Ambicya kazała mu stać o własnej sile, nie żądać pomocy materyalnej od rodziców. Przytem cyganerya artystyczna nie pomału w tych czasach wzrastała, po zejściu do grobu cyganeryi literackiej. Bawić się wesoło w towarzystwie kolegów, płatać sobie nawzajem figle, robić wycieczki zamiejskie, nie dbać czy tam na jutro wystarczy, przespać się choćby we trzech pod jedną kołdrą — to się nazywało dobrze używać życia. Za czasów Pruszkowskiego cyganerya ta nie była jeszcze w pełnym rozkwicie, ale były już jej początki, w których się nie obeszło i bez jego udziału.

Naturalnie, że w tych warunkach praca nie szła zbyt sporo. Pruszkowski, prócz tego miał swoją pewną oryginalność, którą i do ostatnich czasów zachował. Zaczynał malować obraz, nikomu o tem nie mówiąc i nie pokazując go nikomu. Jeżeli go kto odwiedził, musiał długo czekać za drzwiami, gdyż przed ich otwarciem Pruszkowski odwracał obrazy i szkice do ściany. Zdarzało się jednak, że zapomniał drzwi zamknąć, ktoś niespodziewanie wpadł do pracowni i Pruszkowski nie miał czasu zasłonić lub odwrócić obrazu. Było to dla niego dostateczne, aby chwycić za pendzel i cały obraz, choćby był na ukończeniu, doszczętnie zamalować. Czasem dokonywał takiego zniszczenia dla tej tylko przyczyny, że jemu samemu kompozycya się nie podobała, że inaczej ją sobie przedstawiał w wyobraźni, a inaczej wypadła na płótnie.

Zmierzch bogów.

Tłómaczył z Heinego St.

Maj przyszedł, przyniósł złote swoje blaski,
Jedwabne wiatry, łąk zielonych wonie;
Białemi kwiaty wabi, rozsypuje
Tysiące fiołków, stroi w wiosny kwiaty
Murawę miękką, jako dywan tkany
Jasnością słońca i rosy perłami,
I ludzi woła, by się weselili.
I trzoda ludzka prosić się nie każe;
Mężczyźni biorą spodnie nankinowe,
Świąteczny surdut w złociste guziki,
Kobiety białe niewinności szaty.
Młodzieńcy wąsy wiosenne fryzują,
Wypukłe dziewic piersi się podnoszą,
Poeci miejscy biorą do kieszeni
Ołówek, papier i lornetkę: — cała
Czereda spieszy po za miejskie bramy
I na murawie świeżej się rozkłada,
Podziwia, jak to drzewa pilnie rosną,
Wiosennych kwiatów cieszy się barwami,
Świergotu ptaków słucha w zachwyceniu
I grzmi radością pod niebios namioty.

* * *

I do mnie przyszedł Maj, Zapukał do drzwi,
Wołając: „Otwórz. marzycielu blady,
Jam Maj, przychodzę, by cię pocałować“.
Lecz ja zawarłem drzwi i zawołałem:
„Napróżno wabisz mnie, złowrogi gościu,
Znam cię, poznałem świata gmach do głębi;
Za wielem widział — i już się nie mogę
Weselić tak, jak inni. Wieczne męki
W sercu swem noszę. Patrzę przez kamienne
Pałaców dumnych i serc ludzkich ściany,
I widzę wewnątrz kłamstwo i niedolę.
Na twarzach ludzi czytam myśli srogie,
W dziewicy licach, co się wstydem płonią,
Pożądań tajnych widzę kryte ślady.
Na dumnej głowie młodzieńca spostrzegam
Czapkę z dzwonkami, ubraną w pstre szmaty.
I tylko larwy, tylko chwiejne cienie
Na ziemi widząc, odgadnąć nie mogę,
Czy obłąkanych to dom, czy też chorych.
— Przez starej ziemi skalistą opokę
Me oczy patrzą, jak przez szkła kryształy,
Ohydę widzę wewnątrz, którą próżno
Zielenią jasną Maj pokryć się trudzi.
Umarłych widzę — leżą tam na dole
We wąskich trumnach, ręce ich splecione,
Rozwarte oczy, białe jak śnieg szaty
I blade lica, a przez wargi — żółte
Robaki pełzną. Na grób ojca swego
Z kochanką siada syn, rozkoszy żądny.
W słowika pieśni jęk boleści słyszę,
W uśmiechu kwiatów szept ironji cichy;
Umarły ojciec wstrząsa się w swym grobie,
I drga boleśnie stara matka ziemia.

* * *

Ty biedna ziemio znam twoje cierpienia,
Ogniste żary toczą piersi twoje,
I z ran tysiąca krew twa płynie żywa,
Z ogniem płomieni zmięszana i dymem.
Z czeluści owych syny twe, olbrzymy,
Na świat wychodzą z pochodniami w dłoni;
Do bram niebieskich drabiny stawiają
I uderzają na niebios warownią.
Za niemi czarne karły się skradają.
— Złociste gwiazdy z trzaskiem uleciały.
Z namiotu Boga złotych zasłon fałdy
Bezbożna ręka zdziera; wyjąc padły
Na blade twarze archaniołów chóry.
Na swoim tronie siedzi Bóg wylękły,
Koronę zdziera z głowy i drze włosy,
A horda dzika pędzi — coraz bliżej.
Olbrzymy w niebios szerokie obszary
Rzucają swe pochodnie, karły biczem
Płomiennym ciała archaniołów sieką,
Za złote włosy targają bezbronnych —
Ci krzywią się i wiją się w boleściach.
— Ach! i mojego anioła tam widzę
W złocistych lokach; słodycz ma na ustach,
Wieczysta miłość igra mu na licach,
Z błękitnych oczu wieczne szczęście bije.
I nagle czarny, obrzydliwy karzeł
Chwyta w objęcia bladego anioła,
O ziemię rzuca go z złowrogim śmiechem
Harmonją kształtów giętkich oczy pasie
I opasuje go z miłosną żądzą. —
— I straszny krzyk przedziera niebios stropy,
Kolumny gną się, niebo się zapada
Wraz z ziemią — światem rządzi stara noc.

Za tych czasów cyganeryi w lecie roku, zdaje się, 1876, znikł raptem Pruszkowski z L. Picardem na parę miesięcy z Krakowa. Gdzie się podziali — nikt nie wiedział. Przypadkiem zajrzał ktoś do Mogiły, wsi oddalonej o milę od Krakowa, słynnej klasztorem Cystersów, i zastał tam obu artystów, malujących olbrzymie obrazy na ścianach odnowionej kaplicy. Po czemu za łokieć kwadratowy takiego fresku płacili OO. Cystersi, pozostanie zapewnie tajemnicą, ale dość, że obaj malarze byli zadowoleni, bo życie w klasztorze mieli dość przyjemne, przez parę miesięcy połykali świeże powietrze i coś tam jeszcze groszy do mieszka kapnęło. Pruszkowski miał jeszcze jednę specyalną satysfakcyą. Kiedy Picard malował na jednej ścianie jakieś zwycięstwo, odniesione nad Turkiem, czy innym poganinem, Pruszkowskiemu polecono na drugiej wymalować Matkę Boską odbierającą hołdy od wszystkich stanów. Znajdowali się tam i biskupi, i magnaci, i szlachta, znajdowali się chłopi i robotnicy. Pruszkowski tak ich podzielił, że chłopi i robotnicy stali po jednej stronie i do nich to zwróciła się Matka Boska, do nich wyciągnęła obie swe ręce, nie patrząc na infuły, karabele, kontusze i żupany. Dał więc wyraz swojemu demokratyzmowi, swojej sympatyi dla upośledzonych.

Kto wie, czy nie w owej Mogile demokratyzm ów zamienił się w tak zwaną chłopomanją, która tak w nim pokutowała, że jak tylko był w możności nabył sobie grunt w uroczym Mnikowie, wybudował dom z pracownią i osiadł w nim z rodziną, wszystkie prawie chwile wolne od pracy poświęcając rozmowie i zabawie z „sąsiadami“ w sukmanach i siermięgach.

Za pobytu w Mogile narodziło się pierwsze kumoterstwo chłopskie Pruszkowskiego, bo dziś podobno liczby ich dojść niepodobna. Zaprosił go w kumy do swojego syna gospodarz Łyskacz. Przy poczęstunku i kumoterskich uściskach przyrzekł mu Pruszkowski odpłacić się równą monetą, jeżeli się tylko ożeni i syna mieć będzie. I dotrzymał słowa: w kilka lat później Kazia Pruszkowskiego trzymał do chrztu kumotr Łyskacz z panią Benedyktowiczową.

Ale najważniejszym faktem z sielanki mogilskiej był powstały po niej obraz „Kiedy ranne wstają zorze“. Pewnego razu wybrał się Pruszkowski towarzyszyć przez noc całą chłopcom wiejskim, pilnującym koni na pastwisku. Nie można się temu dziwić, bo wychowaniec Odessy, Paryża i Monachium, pierwszy raz miał sposobność być całkiem na wsi i wśród ludu, do którego czuł oddawna olbrzymią sympatyę. Bawiła go więc nowość, zajmowały nieznane wrażenia. Wczesnym rankiem, kiedy pierwsze ranne promienie świtu zaczęły rozpędzać ciemności nocy, ujrzał Pruszkowski kilku pastuszków, jak zrzuciwszy czapki, upadli na kolana i zanucili pieśń dziękczynną. Ten poetyczny obrazek pozostał mu w pamięci, a z niej przeszedł na płótno. Rzecz była śliczna tak w pomyśle, jak w układzie i kolorycie: bił od niej urok piękna i prostoty. „Znalazł się Pruszkowski“, zawołano zewsząd, gdzie już zaczęto nieco wątpić w monachijskie przepowiednie. Znalazł się, bo po raz pierwszy natrafił na właściwy kierunek.

Dla wyczerpania wspomnień mogilskich dodać jeszcze można, że jeden z pisorymów, żyjący wówczas w bliskich stosunkach z Pruszkowskim, opisał tę jego klasztorną sielankę w humorystycznych rymach, opiewających zarazem jego towarzyszkę, suczkę Bziabzię, która była również przedmiotem wesołych karykatur, rysowanych przez kolegów jej właściciela. Treść jednak poematu jest tego rodzaju, iż zapewne wyjdzie on dopiero kiedyś w pośmiertnem wydaniu pism tego pisoryma, lub też za kilkaset lat wydobyty zostanie jako zabytek językowy i obyczajowy, przez którego z przyszłych członków Akademii umiejętności.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wychowanie i szkoła.

(Ciąg dalszy.)

A jakże się ma sprawa z onymi niezrównanymi wzorami patryotyzmu i cnoty obywatelskiej, z onymi przesławionymi wielkiemi mężami starożytności?

Posłuchajmy, co o nich mówi autor.

„Wielcy mężowie starożytności,“ powiada on, nie były to bynajmniej natury marzycielskie i aureola patryotyczna, która jeszcze w naszych oczach otaczała ich nieskazitelne głowy, zbladła znacznie w czasach ostatnich skutkiem nowszych badań historycznych.

Historya *Miltiadesa* jest pełna cieniów i świadczy, gdy się z niej odejmie bitwę pod Maratonem, raczej o wszystkiem innem niż o podniosłości charakteru. *Temistokles*, — o tem niewielu zapewne tylko z czytającej publiczności dowiedziało się w gimnazyum, — był wprawdzie wielki jako zbawca kraju w ciężkiej potrzebie, ale niemniej wielki był w braniu rozmaitych „darów“ i przez rozmaite łapówki i zdzierstwa zebrał sobie niezgorszy majątek. Po ojcu bowiem odziedziczył 3 talenty (około 1,400 mk.) gdy natomiast wskazany został na wygnanie, przyjaciele posłali mu do Azyi tylko z tego, co zdołali usunąć konfiskacie jego majątku 100 talentów (około 470,000 mk.). To trzymanie ręki zawsze otwartą do łapówek było też w Atenach głównym powodem do wzniecenia przeciw niemu powszechnej wzgardy i powszechnej nienawiści. Nikczemne usposobienie społczesnego mu *Pausaniasza* scharakteryzowali dostatecznie starożytni i nowocześni pisarze. *Perikles* był wprawdzie zbyt wielki i z domu zbyt bogaty, aby łaszczeniem się na kilka tysięcy marek mógł być dać się uwieść do czynów podłych. Ale cała jego polityka wewnętrzna była wypływem najjednóstronniejszego egoizmu, a nastawiając ateńską maszynę państwową tak, iż iść nie mogła prawidłowo, skoro u korby nie było jego potężnej ręki, posiał on w przyszłość swego narodu więcej niż którykolwiek inny polityk zarodki szybkiego rozkładu. *Lysander*, który igranie w przysięgi jak pacholęta igrają w kości, wyniósł do godności zasady politycznej i tę zasadę przeprowadził w praktyce, jest może najwstrętniejszą osobistością w całej historyi greckiej. Nietyle wstrętny, ale w najwyższym stopniu nie sympatyczny jest nam charakter *Agesilausa*. *Demostenes* nie był wolen od podejrzenia u współczesnych, iż stoi na żołdzie Persów. Ale choćby ten zarzut był niesłuszny jak to przypuszczają nowocześni historycy, rola jaką odegrał w sprawie złodziejskiego skarbnika Aleksandra W., jest co najmniej wątpliwa i nie kto inny jak Droysen winę jego uważa za udowodnioną.

„O historyi rzymskiej powiada Ihne, iż jedyną sympatyczną osobistością jest u niej — Hannibal.

Wśród własnych mężów posiada natomiast Rzym tylko niewielu, których by młodzieży naszej z czystem sumieniem polecić można do naśladowania. Tak n. p. nie można ze stanowiska moralnego nic nadmienić przeciwko charakterowi *Scipiona* młodszego. Jego nieszczęściem było tylko, iż życie jego przypadło w czasy tak nędzne i że stosunki zmusiły go do czynów tak mało nam sympatycznych jak zdobycie Kartaginy i Numancyi. Również przeciwko Katonowi młodszemu, odliczywszy, jego nieugięty doktrynaryzm, nic nie można przytoczyć, coby mu za skazę policzyć można. Inna rzecz jest z *Scipionem starszym i Katonem starszym*. Pierwszy umarł, nie oczyściwszy się z zarzutu, jakoby wziął grubą łapówkę od Antiocha. Drugi, — no! drugi znany jest przecież każdemu jako niedościgły ideał najnieskazitelniejszej surowości obyczajów i najgorętszej miłości ojczyzny. Tylko że ten najnieskazitelniejszy typ cnotliwości pożerany był chciwością, która go popchnęła do tego, iż w sprawach pieniężnych zasadą Non olet posuwał do ostateczności, iż z tego powodu był on katem i oprawcą ludzi, na którego zakamieniałość oburzali się sami Rzymianie, że w celu dojścia do pieniędzy obok wielu innych spekulacyi wielce wątpliwych prowadził on bujny handel ludźmi, ba, nawet nie wstydził się grać rolę bordelisty, zakazując swym niewolnikom spółkowania z innemi kobietami, natomiast stawiając im za opłatą pewnej ceny swe własne niewolnice do dyspozycyi, że sam jako starzec podeszły w leciech nie wstydził się ku zgorszeniu syna i synowej, z którymi mieszkał pod jednym dachem, utrzymywać z prostą nałożnicą stosunek, urągający przyzwoitości i obyczajności, o tem wszystkiem z pewnością nie wszystkim zarówno jest wiadomo. O największym „moraliście“ świata starożytnego, *Senece*, który przez brudne lichwiarstwo i krawaciarstwo mianowicie w Galii i Brytanii zebrał sobie majątek, zasługujący nawet podług pojęć rzymskich na miano książęcego, nie warto wspominać, ponieważ prymaner zabiera z nim pobieżną znajomość przy lekturze Tacyta.“

Tak więc studyów klasycznych w obecnych stosunkach nie można użyć na podniesienie siły moralnej naszej młodzieży. Jedyny zysk trwały, jaki jej stąd pozostaje, jest rozbudzenie w niej estetycznej wrażliwości. Ale czy ten zysk rzeczywiście jest tak ważny, jak to twierdzą mianowicie filologowie? Sztuka jest to bezwątpienia rzecz bardzo piękna i wzniosła, ale tylko jako przydatek do życia. Gdzie sztuka dla społeczeństwa staje się celem sama przez się, gdzie wypełnia ona zupełnie jego myśli i pragnienia, tam staje się ona objawem chorobliwym.

Od tego kresu wprawdzie społeczeństwo niemieckie jest jeszcze dalekiem, ale mimo to zdaje się, jakoby jego klasy wykształcone cierpiały już dzisiaj na niejaką hypertrofią zmysłu estetycznego. Cnoty dawno niemieckie znikają, na ich miejsce pojawia się chęć chorobliwa jak najświetniejszego ukształtowania zewnętrznego życia, a w ślad za nią idzie zbytek i rozpusta. Przykład idący z góry wciąga coraz więcej klasy niższe w ten wir niebezpieczny. Piękne meble, piękna odzież, życie nad stan, otóż ideały, które jedynie jeszcze u porządnego urzędnika lub nieco mienniejszego przemysłowca krew wprawiają w żywszy obieg. Gdzie na to nie ma, sam pozór musi zastąpić rzeczywistość, tam się zarabia fałszywą oszczędnością na wyżywieniu własnem i dzieci lub też rzuca się na bok względy i uczciwość i macza się ręką w obcych pieniądzach, jak tego dowodem mnożące się w zatrważający sposób procesy o sprzeniewierstwo i listy gończe za zbiegłymi kasyerami.

Tym brakom gimnazyalnego wykształcenia zaradzić by jedynie mogło większe uwzględnie, nie nowoczesnej wiedzy po naszych szkołach wyższych. Drogę do tego podał prof. Bahnsch, proponując zniesienie nauki języka greckiego w gimnazyach i zastąpienie jej nauką greckiej literatury na podstawie dobrych tłumaczeń w klasach wyższych. Oprócz tego należałoby jednakże i pod względem wewnętrznej tendencyi zreformować cały tryb nauczania po naszych gimnazyach. Głównem źródłem niedomagania było mieszanie dwóch pojęć przez dotychczasową pedagogikę gimnazyalną, wiedzy i wykształcenia. Wiedza bowiem sama w sobie nie jest jeszcze bynajmniej wykształceniem i zachodzą wypadki, iż człowiekowi bardzo bogatemu w wiedzę nie można bez wszystkiego przyznać predykatu człowieka wykształconego, i na odwrót, iż człowieka stosunkowo ubogiego w pozytywne wiadomości zaliczyć trzeba do ludzi bardzo wykształconych. Gimnazyum klasyczne nie dość tedy uważało na tę różnicę, i miasto stawić sobie harmonijny rozwój sił umysłowych młodzieńca za główne zadanie, opychało go zbyt jednostronnie wszelkiego rodzaju wiadomościami. Ztąd wyrodził się on bezlitosny system „paukowania“ i do tego systemu dostosowała się cała nowoczesna metoda, która nadto niedomagała jednym błędem kardynalnym t. j., iż zamiast w człowieku i pod duchowym względem widzieć organizm, rozwijający się podług pewnych nieodmiennych praw naturalnych, wzięła za punkt wyjścia ludzi i stosunki idealne, dowolnie skonstatowane. Stąd też tory, na jakie weszła pedagogika niemiecka od r. 1866, okazały się zu-

pełnie bezpłodnemi i miliony, wyrzucone na ulepszenie metod i środków uczonych, nie przyniosły spodziewanych owoców.

Aby tedy osięgnąć lepsze rezultaty niż dotychczas, należałoby tryb i tendencyą nauczania po szkołach wyższych odmienić w czterech punktach:

1) należałoby uprościć całą naukę przez ściślejsze przystosowanie jej do naturalnego rozwoju dziecka. W tym celu przedewszystkiem nauce języka ojczystego należałoby naznaczyć zupełnie inne stanowisko niż dotychczas. Albowiem z językiem ojczystym przynosi dziecko do szkoły pewien zasób pojęć, które się stają podstawą jego całego umysłowego rozwoju. Systematyczne zaś rozszerzenie zakresu tych pojęć i ich wyjaśnienie są 'głównem zadaniem nauki. To rozszerzanie jest jedynie możliwem w drodze tak zwanej apercepcyi t. j. zdolności przyjmowania pojęć z zewnątrz przychodzących w szereg tych, które już w duszy dziecka istnieją, i organicznego łączenia ich z niemi. Tę zaś apercepcyjną działalność duszy dziecka budzić można jedynie za pośrednictwem ojczystego języka, bo ten łączy się w dziecku wprost z myśleniem. Także tyle pożądana ze względów pedagogicznych koncentracya nauki tylko na polu języka ojczystego urzeczywistnioną być może.

2) nauka więcej powinna uwzględniać rozwój serca (Gemueth) i wyobraźni w naszej młodzieży. Nie trzeba bowiem zapominać, iż serce i wyobraźnia, to twórczynie i przedstawicielki ideałów w człowieku i że ludzkość tym dwom władzom duszy w dziejach swego wielotysiącznoletniego rozwoju zawdzięcza swe największe i najwznioślejsze pomysły. Każda bowiem myśl prawdziwie wielka, myśl wewnętrznie porywająca ludzi i przez wieki całe na wiek oddziaływająca nie została mozolnie spreparowaną w pracowni spekulacyjnego rozumu, ale narodziła się jako owoc bezwiednego popędu, jako błyskawiczny impuls serca i wyobraźni. Wyobraźni zresztą potrzebuje każdy człowiek, który w zakresie swej działalności stworzyć chce coś oryginalnego, trwałego. Dla wielkiej masy zwykłych śmiertelników jest ona gruntem na którym wyrastają jej religijne, moralne i prawne wyobrażenia, jej altruistyczne uczucia.

3) szkoła powinna obrać sobie za cel najwyższy pogłębienie moralnego czucia w młodzieży i w tym kierunku działać na nią przez odpowiednie moralne pouczanie. Nie wynika stąd bynajmniej, jakoby należało zaprowadzić po szkołach naszych oderwany od reszty nauki kurs osobny nauki moralnej w rodzaju tej, jaką Francuzi mają w swem „enseignement de la morale civique", gdyż takie sztuczne injekcye moralnego destylatu wywołują tylko zamącenia w duchowym organiźmie młodzieży. Natomiast powinien nauczyciel tam, gdzie się do tego nadarzy rzeczywista sposobność, traktować swój przedmiot z wyższego, więcej etyczną jego stronę uwydatniającego stanowiska. Na sposobności do tego zbywać zaś nie może, ponieważ każdy odłam wiedzy, nie wyjmując matematyki, ma swoją etyczną stronę, a wyzyskanie tego jego etycznego elementu stanowi właśnie najwyższe zadanie wszelkiej nauki.

Aby jednakże nauka moralna padła na grunt urodzajny, winien być i sam nauczyciel jednostką wyższej moralnej wartości. Nic bowiem nie zatruwa więcej serc młodzieży jak sprzeczność pomiędzy słowami, a czynami nauczyciela. Nadto, mając być przewodnikiem i doradzcą młodzieży, nie powinien nauczyciel zasklepiać się w jednostronnej gruntowności, ale starać się o niejakąś wielostronność wiedzy i dostateczny zasób życiowego doświadczenia. Stąd też

4) powinna dążność do naukowego specyalizmu, przeważająca zawsze jeszcze w sferach nauczycielskich, być do pewnego stopnia ograniczoną na korzyść gruntownej i z rzeczywistością w żywych stosunkach stojącej wiedzy ogólnej, a wartość nauczyciela ocenianą być winna nietylko podług ilości i wysokości kwalifikacyi, ale także jego charakter i takt pedagogiczny brane być winne na uwagę.

Nauczycielowi wyposażonemu takimi przymiotami, nie trudno będzie nadać słowom swoim nawet bez środków przymusowych tę wagę, jaka im przystoi. Z drugiej strony powinien by wszakże i nauczyciel uzyskać więcej swobody do ujawnienia swej indywidualności. Zabójstwem bowiem dla iście dobrego nauczyciela jest pedagogika, która wszelkie postulata sztuki pedagogicznej chce sprowadzić do formułek mechanicznych i dla tego określa bieg wewnętrzny i zewnętrzny dzieła wychowania w jego najsubtelniejszych szczegółach drobiazgowemi przepisami. Ciasne ramki, jakie paragrafy zakreślają jego działalności, niemożliwość działania na uczniów bezpośrednio siłą i wagą własnej osobistości, dają mu uczuwać jego zadanie jako twardy przymus. Stąd też nierzadki jest widok, iż osobistości z wybitną indywidualnością wśród nauczycieli, ci, którzy poświęcili się zawodowi nauczycielskiemu z zamiłowania do sprawy wychowania młodzieży, gdy ich los zapędzi do jakiego „wzorowego" zakładu, wcześnie tracą chęć i zamiłowanie do swego zawodu i chodzą poprzez szkólne godziny jako bezistne widziadła i bezsilne automaty regulaminowe.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków, 5 lutego.

(*Bank galicyjski dla handlu i przemysłu. Pomoc naukowa dla kobiet. Dar p. Żółtowskiego dla Stowarzyszenia pracy kobiet. Lysistrata.*)

Od kilku lat wciąż obiegały pogłoski, iż krakowski Bank galicyjski dla handlu i przemysłu ma przejść w ręce obcych kapitalistów. Bank ten założono przed blizko 30 laty. Otrzymawszy niezwykle ważne i szerokie przywileje, statutowe, instytucya ta powinna była oddać krajowi ogromne usługi, wzrastając sama w wielką potęgę kapitału. Nadzieje te jednak nie zostały spełnione, dzięki jużto niedołęztwu, jużto niefachowości, a nawet nieco i bawieniu się w politykę. Dość, iż przed laty 10-ciu, straciwszy kapitał, a nawet depozyty, miał być Bank zlikwidowany. Dzięki ofiarności kilku możnych ludzi, zażegnano upadek, zrzeczono się dobrowolnie wielu pretensyi (między innemi ks. Wł. Czartoryski stracił koło 800,000 złr. będących funduszem Muzeum) i w ten sposób uratowano instytucyę. Ale ograniczony jej kapitał akcyjny pomimo wprowadzenia do zarządu ładu i porządku, nie dozwalał na szersze operacye, a tem samem na rozwój instytucyi. Wyjątkowe przywileje, z których nie można było korzystać, zachęcały obcych kapitalistów: między innymi przed kilku laty traktowała o nabycie Banku jakaś spółka angielska, a wiedeńskie sfery finansowe nieustannie patrzyły na Bank pożądliwem okiem. Ta chęć objęcia instytucyi przez obcych, zwróciła na siebie uwagę ludzie zamożnych, którzy po wyczerpujących naradach nabrali przekonania, iż można krajowemi kapitałami rozszerzyć działalność Banku, z zupełną gwarancyą dla składanych w nim funduszów. Gotówki w Galicyi nie brak, — w samych kasach oszczędności i w papierach wartościowych leżą miliony, — ale brak wystarczającej i odpowiedniej organizacyi bankowej nie przedstawiał pola do korzystnej lokacyi i fruftyfikacyi kapitałów, któreby mogły w wielu kierunkach popierać i przeprowadzać ekonomiczne i społeczne zadania. Ile razy idzie o większą operacyę finansową, jak n. p. o konwersyę listów Towarzystwa kredytowego, musimy wzywać obcej pomocy, za którą natnralnie dobrze płacić potrzeba. Wobec tego postanowiono na razie podnieść do 2 milionów kapitał akcyjny Banku dla handlu i przemysłu. (Dziś wynosi on 334 tysięce złr.). Zawiązany komitet, do którego należą Wł. hr. Baworowski, J. Fischer, dr. Władysław Lisowski, hr. Andrzej Potocki, dr. Maurycy Straszewski, poseł Szczepanowski, Julian Tołłeczko, Zdzisław Włodek i hr Andrzej Zamojski, rozesłał odezwę do subskrypcyi, pragnąc, ażeby do rozwoju działalności Banku przyczyniły się w pierwszym rzędzie krajowe siły finansowe. Obce kapitały dopuszczone zostaną dopiero później, jeżeli siły własne nie wystarczą do wykonania szerokiego programu działalności. Powiększony Bank ma utrzymywać ścisłą łączność ze wszystkiemi polskiemi krajowemi i pozakrajowemi instytucyami finansowemi, przez co może się wytworzyć silna grupa polskich instytucyi finansowych, mogąca przeprowadzać wielkie a obchodzące kraj cały operacye. 11 lutego odbędzie się w Towarzystwie ubezpieczeń zebranie subskrybantów, a w pięć dni później, na walnem zgromadzeniu akcyonaryuszy, postawiony zostanie wniosek dalszego powiększenia kapitału akcyjnego po nad uchwaloną już przez zarząd sumę 2 milionów.

Zawiązane przed kilku laty „Stowarzyszenie pomocy naukowej dla kobiet Im. Kraszewskiego" ogłasza konkurs na dwa stypendya po 150 złr. dla kobiet uczęszczających do uniwersytetu. Towarzystwo rozporządza skromnym kapitałem, bo wynoszącym zaledwie 1200 złr. Statut przeznaczył trzy czwarte dochodów na kapitał żelazny, a pozostałą jedną czwartą na fundusz obrotowy, skutkiem czego Towarzystwo nie mogło dotychczas prawie całkiem działać. Walne zebranie zmieniło statut na niekorzyść funduszu żelaznego, wskutek czego Towarzystwo może dać znak życia i tym sposobem zainteresować szersze koła publiczności. Prezesem Towarzystwa wybrano dr. Adama Bałcikowskiego, jego zastępczynią profesorową Bujwidową, a podskarbim prof. Napoleona Cybulskiego.

Inna instytucya kobieca, również wejdzie na szersze pole działalności. Przed dwoma laty zawiązano „Stowarzyszenie pracy kobiet", mające na cele zorganizowanie pracownic igły, podniesienie ich moralne i ekonomiczne, oraz utworzenie takiego zakładu, któryby dając uczciwy zarobek kobietom, stał się ogniskiem porządnej pracy, zapobiegał wzrostowi protelaryatu i oddawał usługi przemysłowi krajowemu w dziale bielizny. Dola Stowarzyszenia nie była jednak do pozazdroszczenia; dużo było jaśnie wielmożnych i wielmożnych protektorek, ale mało kapitału, mogącego sprawę dobrze postawić. Zacna myśl jednak zwyciężyła, znalazł się bowiem człowiek ofiarny, który postanowił zaradzić odczuwanej potrzebie. A niejest nim żaden magnat, nie żaden nawet z tych ludzi, których się nazywa zamożnymi, lecz człowiek posiadający skromne fundusze, ale większe od nich serce, którego brakuje potentatom finansowym. Pan Ignacy Żółtowski, człowiek dla siebie do najwyższego stopnia oszczędny, nigdy się nie wahał tem, co zaoszczędził, podzielić się z biednymi. To też i w tym wypadku, prawie nad możność swoją, ofiarował na cele „Stowarzyszenia pracy kobiet" kwotę 15,000 złr. wyrażając życzenie, ażeby Stowarzyszenie mogło ująć w swe ręce i inne działy pracy kobiecej, a zwłaszcza gospodarstwo domowe, na wzór zakładu hr. Celiny Platerowej w Chyliczkach pod Warszawą.

„Lysistrata", komedya grecko-krakowska, napisana przez spółkę Koźmian-Arystofanes, o której treści (nie spółki, lecz komedyi) dałem już wyobrażenie Czytelnikom „*Przeglądu*", cieszy się wcale znacznem powodzeniem. „*Nowa Reforma*", pisząc o tej sztuce, wyraziła się, iż powodzenie jej będzie miarą smaku etycznego wśród publiczności krakowskiej. Pismo to przypuszczało, iż treść w wysokim stopniu nieprzyzwoita, upstrzona grubemi karczemnemi konceptami, powstrzyma ludzi poważnych, a zwłaszcza kobiety, od zwiedzenia pierwszy raz wystawionego na scenie krakowskiej *gynajkejanu*. Tymczasem właśnie ta treść, właśnie te koncepty poruszyły sfery najpoważniejsze: miejsce w teatrze zajęła arystokracya, zajęli wszyscy urzędnicy, dyrektorowie i profesorwie uniwersytetu i gimnazyów, radzcy miejscy, rozmaitego rodzaju staruszkowie, co to są „żywym przykładem dla młodych pokoleń" (w mówkach toastowych), zajęły wreszcie „nasze matrony", kapłanki ognisk domowych, a nawet dziewice, „w których sercach spoczywają skarby tajemnicze". Co do płci pięknej zauważyć muszę, iż poszła naprzód na pierwsze przedstawienie, udając, że o niczem nie wie; później wstrzymała się przez dwa przedstawienia, a kiedy dopiero sądziła, że już płeć męzka nasyciła się „Lysistratą", rzuciła się hurmem na czwarte

i piąte przedstawienie; tak więc połączyła przyjemne z pożytecznem: oddała naprzód hołd etyce, a później p. Koźmianowi. Oprócz gwałtownie wesołej fabuły ma jeszcze „Lisistrata wiele innych przymiotów. Pierwszy jej akt dość wprawdzie nudny, ale przynajmniej ciekawy, bo jest w nim stosunkowo najwięcej Arystofanesa. Następne akty wyszły przeważnie z pod pióra p. Koźmiana i przekonały widzów, iż poczynający ten pisarz dramatyczny posiada to wszystko, czego komedyopisarz posiadać nie powinien. Trudno sobie wyobrazić zlepku bardziej niezdarnego, rozwlekłego, bez intrygi i akcyi, dowcików więcej nieudanych. Ordynarny język i błędy gramatyczne, (zwłaszcza *accusativus* tramtadratikus) dopełniają całości. Aluzye do stopsunków krakowskich, albo całkiem są niezrozumiałe, albo przypominają studenckie dowcipy. Cały trzeci akt dzieje się w *gynajkojanie* i choć się dzieje, nic przecież w nim się nie dzieje. Widzimy tylko na tle wspaniałej dekoracyi kilkanaście ladacznic i kilkunastu graczy i pijaków; trudno wyobrazić sobie, jak to wesołe towarzystwo djabelnie się nudzi, nudząc sobą i publiczność.

Najwstrętniejszą rzeczą w „Lysistracie“ są na tle pornograficznem wypowiadane tyrady o miłości ojczyzny i obowiązkach obywatelskich. Naiwność p. Koźmiana doszła do tego, że każe t. zw, grzecznie „Bratkom“ wznosić okrzyki na cześć Badenich; oryginalny zaiste, a wątpię, czy smaczny dla obdarowanych, objaw pochlebstwa. Czwarty akt zamienia się w operetkę, ale bez jej dowcipu, lekkości i muzyki; poważni mężowie greccy występują w roli błaznów cyrkowych. Najbardziej zadziwia, iż do tej cynicznej i nędznej ramoty napisano prolog wcale udatny; naturalnie autorem prologu nie jest p. Koźmian.

Dziennikarstwo z wyjątkiem „Czasu“ przyjęło „Lysistratę“, jak na to zasługuje. Ciekawy to objaw: Organ katolicki, narzekający wciąż na upadek pojęć etycznych, jest obrońcą pornografii. Nie pierwszy to jednak raz, ani ostatni. Kiedy przed laty mniej więcej dziesięciu wystawiono ślizgą sztukę „Oj młodzi, młodzi“, jeden „Czas“ tylko zdobył się na jej pochwały, a o rozwiązłym bohaterze komedyi napisał, że taka młodzież być powinna. Nie trzeba zapominać jednak, że autorem „młodych“ był Jan Aleksander *hrabia* Fredro, a „Lysistratę“ przerabiał p. Koźmian. Hrabiom i Koźmianom wszystko wolno... w „Czasie“.

K. Bartoszewicz

KRONIKA WIEDENSKA.

Wiedeń, 1 lutego 1895.

Wieczorki polskie. — Nowe zaspy śniegowe. — Milionowy zapis. — Cisza w parlamencie. — — Przygłuszona sprawa reformy wyborczej. — Antysemici w sejmie niższej Austryi. — O szpitalu i sekcyi zwłok. — Statystyka głodu. — Pocałunek na scenie. — Notatki literackie.

Jak nam poznańskie echa głoszą, to podobno obchodzicie żałobę na pamiątkę podziału naszej Ojczyzny? W Galicyi zaś tańczą i bawią się wesoło, ergo tedy i my we Wiedniu także hulamy. Odbyły się tutaj dwa „mazurowe wieczorki polskie“, skromnie tak nazwanę przez wzgląd na tradycyę dawnego „Balu polskiego“ na którym bywał monarcha z następcą tronu i wszyscy arcyksiążęta. Bal polski już nie istnieje, a na wieczorkach zamiast cesarza lub którego z arcyksiążąt bywają przyszli ministrowie — obecnie praktykanci we wszystkich możliwych ministeryach. Komitet wieczorków składa się ze samych hrabiów, i „rycerzy“, a najmniejsze figury co do tytułów to są dwaj malarze, Ajdukiewicz i Pochwalski. Tańczono do białego dnia, chociaż zachodzi obawa, aby nie stało im się tak jak owym w „Legendzie o zapamiętałych tańcownikach“, którzy się na śmierć zatańcowali i ducha wyzionęli. Do mazura stanęła masa Niemców i Niemek, a w kulawem tempie, obrywano potrochu paniom treny od sukien, a mężczyznom deptano po palcach. Ale tradycya mazura utrzymana, i wielkopańskość również. Za filiżankę herbaty płacono 1 złr. 20 cen., a za kieliszek „*kontuschofki*“ 50 centów. Jak hulać, to hulać!

Zaledwie dni kilka przepięknych pojawiło się, — znowu zaspy śniegowe. Drugi już dzień wieje i gwiżdże i sypie w oczy drobniutkim białym puchem, że aż niemiło pokazać się na ulicy. Jak komu. Są bowiem w Wiedniu setki, jeżeli nie tysiące ludzi, którzy żyją parę tygodni przynajmniej ze śniegu. Nazywają siebie „Schneeschaufler“, a są wypadki, gdzie w Lipcu wyłapany włóczęga powiada, że jest „ein Schneeschaufler“! Tysiące jednak ludzi bez zatrudnienia, nawet z lepszej klasy roboczej, chwyta za miotłę i łopaty, aby chociaż parę dni zarobić na łyżkę ciepłej strawy!

Przed kilku dniami umarł tu milioner Treitl, nie manifestujący się ze swoim kapitałem za życia. Okrągły milion guldenów zapisał on Akademii Umiejętności na cele astronomiczne. Jak mówią, pieniądze te mogą być użyte na wyszukanie znaków porozumienia się z mieszkańcami Marsa! Także coś warte, i to teraz, kiedy rząd nie może porozumieć się w żaden sposób z Kołem polskiem i niemiecką lewicą, co do przeprowadzenia reformy wyborczej. Niech naród czeka!

Przecież tylko dwa lata dzieli nas jeszcze od terminu wyborczego posłów do parlamentu, więc nie mamy zanadto wiele czasu do wyszukania sobie różnych posad i synekurek. W parlamencie głucho i pusto. Komisya zmiany kodeksu cywilnego przed kilku dniami rozpoczęła wprawdzie narady, członkowie jej jak cienie przesuną się czasami przez ciche korytarze, czasami odezwie się echem nazwisko Lewakowskiego i jego sejmik relacyjny we Lwowie, ale to chwila i znowu spokojnie. Ten sam głuchy spokój owionął i reformę wyborczą, o której i w Sejmie galicyjskim mówić nie chciano, mimo istnienia partyi demokracyi z „lewicy sejmowej“, a w Wiedniu, wśród sfer parlamentarnych, nie mówi się o niej już wcale. Trochę ruchu w nowościach politycznych mieliśmy z Budapesztu, trochę z Paryża — zresztą spokój i mdło do znudzenia.

Wojują tylko antysemici i chrześcijańsko-socyalni w Sejmie Niższej-Austryi. To też galerye przepełnione są publicznością, zrywającą sobie boki śmiechem nad kłótniami posłów Luegera i Gregoriga z marszałkiem sejmowym hrabią Traun, który wprawdzie po trzy razy dziennie odbiera im głosy, ale tem samem rozdrażnia i jątrzy. Poruszano mianowicie sprawę nadliczby żydów-lekarzy, którzy specyalnie są w głównym szpitalu tutejszym protegowani. W uniwersytecie mają swoje stowarzyszenie „Kadimah“, a tak silnie wiążą się solidarnością, że nieżydowi trudno otrzymać nawet prywatną docenturę. Protegują takie stanowisko profesor Nothnagel, a w sejmie broni obecny rektor ksiądz Müller.

Antysemici poruszyli też i sekcye zwłok w szpitalu. Mianowicie każdy zmarły w niezwykły sposób, lub w szpitalu podlega tak zwanemu „krajaniu“ przez doktorów, ewentualnie uczniów medycyny. Otóż żaden z trupów żydowskich, pod nóż nigdy nie przychodzi! Żydzi wyrobili sobie odrębne w tej sprawie stanowisko, i zaraz trupa ze szpitala zabierają, zanim wogóle o krajaniu tegoż ktoś pomyśli. Na chrześcijaninie uczą się więc lekarze żydzi — a to być nie powinno! konkludują Lueger i Gregorig.

Ciekawy obraz — chociaż bardzo smutny, przedstawia wiedeńska statystyka... głodu. Od 15 listopada minionego r., do 15 stycznia tegoż, odwiedziło tutejsze ogrzewalnie 309,691 osób, a to: 109,417 mężczyzn, 98,015 kobiet i 101,929 dzieci. Obdarzono ich 500,000 porcyi zupy i chleba. Największy napływ do schronisk, był w ostatnich dwóch tygodniach, w których nie mniej jak 97,730 biedaków, szukało ciepła i jakiej takiej strawy. A iluż to codziennie z głodowego wycieńczenia umiera, ilu z nędzy życie sobie odbiera lub puszcza się na kradzież i rozboje! Statystyka głodu wielkiego miasta, to najsmutniejsza jego karta, zapisana nędzą, rozpaczą, zbrodnią i kryminałem.

Dzienniki tutejsze zajmują się sprawą, czy aktor na scenie ma prawo całowania partnerki, jeżeli rola tego wymaga, czy nie? Od kilku dni formalna walka się toczy o to, że w „Rajmund-Theater“ pani Leuthold, niepozwoliła się naprawdę całować aktorowi Ranzenbergowi. Za i przeciw mnóstwo ludzi, a obrażona przez kolegę aktorka, niechcąc być narażoną na powtórne na scenie znieważenie, woli ze sceny ustąpić, bo ma męża, którego kocha i któremu takie sceniczne całusy nie są najmilsze. Właśnie dzisiaj czytam w dziennikach, że pani Leuthold wręczyła dyrekcyi swoją dymisyę.

Zygmunt Bytkowski stale w Wiedniu mieszkający młody literat, przełożył na język niemiecki polski dramat Zglińskiego p. t.: „Jakób Warka“ i oddał dyrekcyi jednego z tutejszych teatrów. Tegoż tłomaczenie noweli R. Lewandowskiego p. t. „Er“ („on“) umieścił dziennik „Neues Wiener Journal“ w numerze z dnia 29 stycznia. Tygodnik tutejszy „Die Zeit“ pismo znakomicie przez modernistę Hermana Bahr'a prowadzone, przyniosło w ostatnim numerze artykuł o „najnowszych prądach literatury polskiej, przysłany przez Krzywickiego z Warszawy.

X.

NA WYŁOMIE.

(Odprawa „Kuryerowi Poznańskiemu“. W sprawie „Czytelni ludowych“.)

Wróg Kościoła! Ileż razy w ostatnich latach życia naszego słowo to odbijało się o uszy nasze, zrazu złowrogim, a w końcu już tylko humorystycznym dźwiękiem. Wrogiem kościoła jest „Goniec Wielkopolski“ i „Orędownik“ i „Postęp“ i nawet pobożny „Dziennik Pozn.“, któremu jeszcze przed trzema laty zagrzmiał nad uchem braciszek „Kuryer“, że „liberalne pazurki“ odsłania. Przyszła i kolej na „Przegląd“, z tą tylko różnicą, że to już nie wróg pospolity, lecz wróg „najzaciętszy“, coś w rodzaju Belzebuba, Antychrysta, Lewiatana lub Lucyfera. Huk piorunów wywierał zrazu pewne wrażenie, ludzie niespokojnem okiem spoglądali w oblicze gromowładnego Jowisza i drżeli. Z czasem jednak zaczęto uśmiechać się dyskretnie, wzdrygać ramionami, dowcipkować, i zdarza się dzisiaj nierzadko, że najszczersi przyjaciele „Kuryera“, biorąc do ręki przeklinającą bibułę, pytają ironicznie: Kogoż tam znowu wyklęli?

To też wybaczą mi szanowni koledzy z świętomarcińskiej dzielnicy, że przeczytawszy ich najświeższe „anathema“, westchnąłem tylko i trawestując znany distichon Schillera, tak rzekłem:

„Sitzt der „*Kuryerek*“ beim Glase, so ist er leidlich verständig,
„Macht er sich aber ans Schreiben, gleich wird ein Unsinn daraus.“

Jakież jest imię tej zbrodni, która znowu uszczupliła arsenał Kuryerowy o jeden piorun teatralny? „La politique royale“. Pojawił się pod takim tytułem artykuł w „Przegl. Pozn.“, piętnujący hyperlojalizm „Kuryera“ i sprowadzający na drodze logicznej dedukcyi do pospolitego absurdu jego teoryę królewskiej świętości i nieomylności. Wnioski głośnego artykułu, zamieszczonego w piśmie naszem, były postawione z tak matematyczną ścisłością, że polemista Kuryerowy nie podjął się walki rzeczowej, nie odważył się naruszać rozumowych refleksyi, lecz zadowolił się prostem wymyślaniem na temat „wrogów kościoła“, „prymanerów“, „bluźnierców“ i t. p. To wasza taktyka. mu panowie: Ziemia obraca się około słońca. „Głupstwo!“ — wołacie. Dla czego? — „Bo głupstwo“.

Wy to nazwiecie lekceważeniem, lecz czł

wiek rozumny nazwać to musi impotencyą ducha.

Zdarza się jednak niekiedy buńczucznemu „Kuryerowi“, że mimowoli składa rączęta i spowiada się publicznie z bezsiły swojej. Oto kapłan anonimowy, który rzekomo nadesłał temu organowi fulminującą polemikę, tak się odzywa w drugim ustępie elaboratu swego:

„Co zaś do artykułu Kuryerowego, który „Przegląd Pozn.“ natchnął do tego wypracowania pseudo-dogmatyczno-historycznego, to szkoda, że tej materyi trudnej nie określił teolog, bo przekonany jestem, że każdy, choćby najmłodszy, byłby te punkta umiał i miał obowiązek ściślej określić i obwarować przeciw mylnym dedukcyom lub niedostatecznemu oświeceniu w zasadach św. naszej wiary.“

„Kuryer“ zaś w skromności swojej taką dołącza uwagę w klamerkach:

„Możeby szanowny autor niniejszych uwag jeszcze teraz sam się raczył podjąć tego trudu. Przyp. Red.“

Jakiż ztąd wniosek logiczny?

1. Że „Kuryer Poznański“ nie określił „ściśle“ trudnej materyi.
2. Że „*najmłodszy*“ kapłan umiałby „ściślej“ określić charakter „pomazańców bożych“ niż najstarszy redaktor „Kuryera“.
3. Że „Kuryer“ wobec polemiki naszej czuje się bezsilnym i apeluje o pomoc do duchowieństwa.

Zdarłszy maseczkę delikatnego stylu z tej gorzkiej nauczki streszczczamy bez skrupułów myśl powyższą w następujących słowach: „Kuryer Poznański“ przeholował do tego stopnią w adoracyi swojej dla tronu i takie dziwolągi o świętości i nieomylności królów popisał, że na drodze dedukcyi wyprowadzić można ztąd wnioski ubliżające stanowisku religii i kościoła.“ A zatem gromy ciśnięte na „Przegląd Poznański“ zamieniają się w list pochwalny dla nas, — w *testimonium paupertatis* dla lojalnego „Kuryera“. A jeżeli w artykule naszym znalazła się uwaga, że klerykalno-lojalny szermierz dziennikarski pierwszą ojczyznę upatruje w Rzymie, a drugą dopiero w Polsce, to niechaj redakcya Kuryera raczy publicznie i otwarcie twierdzeniu naszemu zaprzeczyć, a cofniemy skwapliwie ten poważny zarzut. Nigdy jednak nie odwołamy twierdzenia, że nasz bałwochwalca królów bardzo wątpliwe wyświadcza przysługi religii t. j. nie martwej literze, nie formom i ceremoniom, lecz wielkiej idei Chrystusowej. Czyż bowiem między wierne sługi Nazareńczyka zaliczymy tego, który codziennie nieomal szczepi w polski organizm laseczniki nienawiści, tego, który z iście semicką zaciętością ściga przeciwników swoich, tego, który bojkot głosi na chorążych narodowego i ludowego kierunku, tego, który w celach partyjno-politycznych wyzyskuje Kościół i religię. Być może, że taki niechrystusowy teroryzm służy przelotnie pewnej części duchowieństwa, spragnionej bezwzględnego posłuszeństwa w każdej dziedzinie życia publicznego, ale czyż w tych tłumach przerażonych kościelnym straszakiem i ujarzmionych groźbą bojkotu, nie przygaśnie światło Betleemskie, nie zbudzi się ostatecznie żal utajony do tych, za których organ uchodzi „Kuryer Poznański“, nie wyrośnie jakiś cichy protest przeciw wyznaniu, pętającemu swobodę obywatelską. Niechaj was panowie „Kuryerowi“ nie upaja momentalny tryumf teroryzmu, bo kto wie, czy kosztów zwycięstwa nie opłaci jutro — religia. Ostatni okres walk politycznych rzucił niebezpieczne zamieszanie pojęć w niziny społeczne, a siewnikiem trującego ziarna był w pierwszym rzędzie nasz przeklinający krótkowidz. Być może, że legion ugodowców uwije mu za to wieniec laurowy, lecz ja, którego wy nazywacie poganinem, a który korzy się w najgłębszym zachwycie przed jutrznią Chrystusową, mówię bez trwogi: „Precz od krzyża, bo czyny twoje urągają męczeństwu Golgoty!“ Słyszycie? Uderzcie w dzwony na alarm, zwołajcie zebranie mężów „ładu i porządku“ na Bazarowej sali i uchwalcie wotum zaufania dla praktyk Kuryerowych. Nie zdziwi to dziś już nikogo, bo u nas zabija się stale każdą opozycyę przy pomocy tych patentowanych instrumentów. Przypominam sobie, że w ubiegłym roku na walnem zebraniu Towarzystwa czytelni ludowych, ktoś zwrócił uwagę na dwie powieści, tłomaczone z francuzkiego, a owiane tchnieniem romansów bulwarowych. Książki te, obce nam pojęciami, typami i duchem znalazły się w bibliotecznych szafach, a jeden z najgorliwszych miłośników ludu w sposób na wskroś objektywny i spokojny prosił o ich usunięcie. Natychmiast jednak podnoszą się apostołowie milczenia i mówią: „Stawiamy wniosek o wotum zaufania dla zarządu“. Wotum uchwalono, dyskusyę ucięto, krytykę zabito i zaledwie kilka jednostek uświadomiło sobie całą śmieszność podobnego postępowania. Zaiste! Możnaby tu na wzór głośnego dowcipu jednego z dzienników niemieckich ukuć następujące pytanie i odpowiedź: Jakie są obowiązki Polaka wobec czytelni ludowych? „Mitglied werden, Beiträge zahlen und Maul halten!“

Wybaczy mi jednak Zarząd szanowny, że nie zastosuję się do wzniosłej recepty i na tem miejscu wyrażę życzenie, aby tytuły książek zakupionych w roku ubiegłym wymieniono w pismach poznańskich. Zbliża się termin walnego zebrania, a my nie kwitując bynajmniej z prawa kontroli, pragniemy poznać dokładnie materyał dyskusyi.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Z Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Młody, a zaszczytnie znany z pracy swojej o „Wojnie domowej“ Samuela Twardowskiego literat *Dr. Aleksander Czechowski*, przedstawił na dwóch ostatnich posiedzeniach wydziału historyczno-literackiego „Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu“, dalszy ciąg studyów swoich nad Twardowskim, a mianowicie nad drobnemi wierszami poety tego. Treść tych interesujących odczytów jest następująca:

Sławiony swego czasu jako Homer lub Maro polski Samuel Twardowski należy dziś do najmniej znanych poetów naszych XVII wieku, pomimo, że utwory jego, drukowane po części jeszcze za życia autora, zachowały się prawie wszystkie. W podręcznikach historyi literatury znajdujemy o nim zaledwie krótkie wzmianki, po części fałszywe, a z prac większych, samodzielnych posiadaliśmy do niedawna tylko studyum Bronisława Chlebowskiego, drukowane w „Tyg. Illustr.“ z roku 1872. Studyum to nie jest jednakże ani wyczerpujące, ani też sprawiedliwe. Chlebowski za mało uwzględnił wielkie epiczne utwory Twardowskiego, a opierając się przeważnie na najsłabszych, drobnych jego wierszach i powodując się pewnem uprzedzeniem, przedstawił charakter poety i stanowisko, jakie zajmuje w literaturze, zupełnie fałszywie.

Wydawszy niedawno broszurę o „Wojnie domowej“ Twardowskiego, podjął się teraz dr. Czechowski w odczytanej na posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego rozprawie sprostowania nieścisłych i nieuzasadnionych zdań głoszonych o tym poecie, mianowicie przez Chlebowskiego, i uzupełnienia jego pracy, o ile dotyczy utworów zawartych w zbiorku kaliskim z roku 1682 p. t. „Miscellanea selecta“.

Pomijając drobniejsze szczegóły, przytoczymy z wyników jego badań tylko najważniejsze:

Zdaniem dr. Czechowskiego nie obejmują „Miscellanea selecta“ wszystkich drobnych wierszy Twardowskiego, lecz przeważnie tylko wydane jeszcze w osobnych broszurach za życia poety. Reszta, a szczególnie wiersze miłosne zaginęły lub spoczywają jeszcze w rękopisach.

Zarzut panegiryzmu, robiony Twardowskiemu przez Jul. Bartoszewicza, Rycharskiego i innych historyków literatury, a mianowicie przez Chlebowskiego, jest nieuzasadniony i polega po części na niedokładnem czytaniu jego utworów, po części zaś na zapoznaniu stosunków polskich XVII wieku. Twardowski napisał, jak prawie każdy ze starszych naszych poetów, a nawet J. Kochanowski, sporą liczbę wierszy pochwalnych, lecz sławiąc prawie tylko ludzi zasłużonych, a przynajmniej poważanych w bardzo szerokich kołach i trzymając się zawsze w granicach prawdy, na nazwę pochlebcy nie zasługuje.

Niesłusznem jest także twierdzenie, jakoby poeta w wierszu „Omen Królowi szwedzkiemu“ dopuścił się zdrady Ojczyzny, jak zarzuca mu mianowicie Braun. Utwór ten, pisany prawdopodobnie na życzenie Kr. Opalińskiego, jest raczej tylko odzwierciedleniem przewrotnych zasad politycznych szlachty XVII wieku. Jak większa część ówczesnej szlachty, widział Twardowski w Karolu Gustawie nie najeźdźcę, lecz wybawcę z trudnego położenia, elekta, który jednakże, jak niegdyś Zygmunt III, przemocą musiał sobie dopiero zdobyć koronę. Nie schlebia mu też bynajmniej, lecz żąda usługi za usługę i stawia mu swoje warunki, przypominające „Pacta conventa“, które przedkładano wstępującym na tron królom polskim.

Przekład 4 ód Sarbiewskiego i 3 Horacego nie powstał — jak twierdzi Chlebowski, przed rokiem 1627, lecz jak dowodzi przeróbka ody „*Quem tu Melpomene*“ najwcześniej w roku 1633-cim; przekład zaś od Sarbiewskiego „O potrzebie wyjarzmienia wschodniego państwa“ wskazuje na to, że Twardowski dokonał go w czasie, kiedy Władysław IV marzył o wypędzeniu Turków z Europy, a w każdym razie pomiędzy rokiem 1633 a 1648. W tym samym czasie powstały zresztą wszystkie inne drobne wiersze Twardowskiego.

Wskazawszy dalej na ważność badania źródeł, z których czerpali poeci, i wzorów, na których się kształcili, wykazał dr. Czechowski na podstawie przytoczonych przykładów, że Twardowski korzystał nietylko z uznanych powszechnie w Polsce wzorów, utworów Horacego, Wergiliusza i J. Kochanowskiego, lecz także z „Jerozolimy wyzwolonej“ Tassa w przykładzie P. Kochanowskiego, i widać w drobnych jego wierszach również pewien — choć nieznaczący wpływ Sarbiewskiego.

Twierdzenie Chlebowskiego, że Twardowski wypisywał sam z swoich własnych utworów, prostuje autor, stwierdzając, że przytoczone przez Chlebowskiego cytaty są fałszywe, a przytem parafrazą ustępu z „Pamiątki J. B. Tęczyńskiemu“ J. Kochanowskiego, i że wogóle powtarzające się u Twardowskiego zwroty nie są oryginalne, lecz bezwiednem prawdopodobnie przypomnieniem podobnych ustępów z dawniejszej lektury.

Ogółem wziąwszy nie przedstawiają, zdaniem dr. Czechowskiego, utwory zawarte w „Miscellaneis selectis“ pod względem poetyckim wiele godnego uwagi. Niektóre z nich są względnie nie złe, ale żaden jako całość nie posiada prawdziwych zalet artystycznych. Najsłabsze zaś są wiersze jego liryczne, i dla tego twierdzenie Chlebowskiego, że Twardowski stałby się niezłym poetą, gdyby naśladując Horacego, wstąpił w Kochanowskiego ślady, jest nieuzasadnione. Twardowski nie był lirykiem. Subjektywizm poetów lirycznych, który każe im stawić swą własną osobę w pośrodek całego świata, odnosić wszystko, co się około nich dzieje, co ich dotyka rozkosznie lub boleśnie, do swego własnego „ja“ był naturze jego zupełnie obcy.

Właściwem polem jego twórczości poetyckiej była poezya epiczna, lub raczej historyczno-opisowa, i tam stworzył niejedno godne uznania i pamięci, i przyczynił się znacznie do rozwoju epiki w wieku XVII. Twierdzenie Mecherzyńskiego jednakże w studyum o „Wojnie Chocimskiej“ Potockiego (Bibl. Warsz. 1861 I. 2/3.), jakoby Twardowski był najzdolniejszym epikiem polskim przed Woroniczem, jest przesadą i wymaga sprostowania. — *ski.*

Ludwik Straszewicz: Fantazye. Petersburg — u K. Grendyszyńskiego, 1895, str. 122.

Pogrążony w reflesyach własnych, autor szkicuje w tych „Fantazyach“ swoje idee i uczucia, które mu życie i zastanowienie nad niem nasunęło do głowy i do serca. Zwątpienie zakradło się do piersi i tam rozkładową zaczęło robotę („W ogrodzie oliwnym“). Wkrótce jednak widok odradzającego się świata, widok pracującej i wiecznie młodej ludzkości odwraca od samolubnej obojętności i zapatrzenia się w siebie myśl i wprowadza ją na wyżynę, zkąd szeroki zewsząd roztacza się horyzont. „Gawęda nocna“ w formie dyalogu, pomiędzy dwoma domkami pod filarkami i z facyatką, maluje dobitnemi rysy charakterystykę tej doby, którą przetrwały, dopóki ich postęp miasta z widowni ulicy Marszałkowskiej nie usunął. „Na pustyni boleje nad upadkiem wybranego ludu Mojżesz — starzec już i blizki grobu; martwi go apatya młodych, martwią różne złe objawy życia wśród Izraela, aż dopiero w końcu przychodzi pocieszenie i Mojżesz błogosławi Jozuego. Czy pisząc „Fragment“, czy odtwarzając legendy: „G. † M. † B.“ i „Półpoście“, czy „Nieprzejednanych“ — autor wie, że do celu dochodzi się tylko „Za sprawą miłości“ — i to uczucie, nieraz boleśnie dotknięte, odzywa się we wszystkich „Fantazyach“ p. L. Straszewicza, który położył na czele swej książki zdanie pani de Stael: „Il n'y a rien de réel du monde qu'aimer.“

* * *

Klemens Junosza: Czarnebłoto (Pająki wiejskie). Warszawa 1895, str. 393.

Niewyczerpaną skarbnicę przepysznych typów wydobywa Klemens Junosza z życia prowincyonalnego, w którem obserwuje działanie różnych czynników, przeważnie zaś odmalowywa z nieporównywaną charakterystyką nieinteligentny tłum żydowski, zaludniający małe nasze miasteczka. „Czarnebłoto,“ to nazwa takiego żydowskiego miasteczka, które na okolicę całą zarzuciło sieci i rade łowić jak najwięcej ryb. Obywatele tego miasteczka pilną uwagę zogniskowali przeważnie na włościan, ale nie darowali również ziemianom bogatszym. Ze szczegółową, sumienną, a trafną bardzo znajomością tego świata, zabrał się autor do lokalnych studyów, i powieści jego, jakie na tle tych studyów osnuł, są niezrównanemi w odtwarzaniu zarówno pojedyńczych postaci, jak i całości obrazu. Wysoce utalentowanego autora nie opuszcza nigdy przytem wyborny, szczery humor, który opowiadanie każde urozmaica; werwa, temperament pióra, szlachetna dążność i głębsza myśl — oto przymioty utworów Junoszy. Nic też dziwnego, że pisarz ten jest taki popularny, że go zwłaszcza na wsi najchętniej czytają, bo przypomina często wrażenia i uczucia, jakim czytelnik we własnem otoczeniu ulega. „Czarnebłoto“, po mistrzowsku przez Junoszę oddane, według najwierniejszego z natury rysunku, przesuwa przed naszemi oczami szkice prowincyonalnego miasteczka i okolicy z artyzmem i prawdą. Typy to portretowane z nieporównaną plastyką, pełne zacięcia, do oryginałów podobne, a takie malownicze, iż wyglądają na kartach powieści, jakby wyszły z pod pędzla. Szczegóły opowiadania, treść oraz wykonanie całości są pod każdym względem zasługujące na jak najżyczliwszą ocenę i jak najszersze powodzenie.

* * *

Księga przysłów. Świeżo wyszło w Warszawie olbrzymie dzieło (wielka 8-ka o 800 str.) p. Samuela Adalberga pt.: „Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich“, wydane nakładem Kasy Mianowskiego, a wydrukowane u p. Skiwskiego. Praca ta, z całym przepychem wydana śmiało znaleść się może obok najwspanialszych wydawnictw akademickich Europy. Autor „Księgi“ — to młody jeszcze człowiek, odbywający studya, a raczej kończący je w Berlinie. Jego dzieło to owoc 11-letniej pracy iście benedyktyńskiej. Poświęcona pamięci Oskara Kolberga „Księga“, rozpoczyna się od przedmowy p. Adalberga (18 str.), po której idą „źródła“ ze wskazaniem w porządku alfabetycznym, książek i rękopisów, w dziele cytowanych, wreszcie następuje właściwa praca: zbiór przysłów, wyrazami alfabetycznie ułożony. System alfebetyczny niezmiernie ułatwia poszukiwania. Kto np. chce sprawdzić, jakie przysłowia „mądrość narodu“ wytworzyła w ciągu wieków — czy to o „Filipie“, czy o „niedzieli“, „ręce“ itd. — pod właściwemi wyrazami znajdzie ich całe szeregi, zestawione umiejętnie i poparte cytatami. Poszukiwania ułatwia obszerny, bo przeszło sto stronnic zawierający „skorowidz“. Tyle o dziele i autorze — w tej pierwszej wzmiance bibliograficzno-dziennikarskiej. Co do nakładcy — jest nim Kasa Mianowskiego, która wydawnictwem niniejszem jak najchlubniej pożyteczną działalność swoją zadokumentowała. Estetyczny wygląd tego olbrzyma, staranna korekta i czystość druku składają się na wytworną całość, za którą drukarni p. Skiwskiego słuszna należy się pochwała. Cena dzieła: 3 ruble na rzecz Kasy Mianowskiego, jako zwrot poniesionego nakładu.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Wniosek stronnictwa konserwatywnego w sejmie pruskim o wykluczenie Polaków od nabywania włości rentowych wywołał gorącą dyskusyę. Z Polaków przemawiali energicznie przeciw potwornej propozycyi, dla której rząd objawił wyraźne sympatye pp. radzcy Motty, Czarliński i radzca dr. Mizerski. — Z Warszawy donoszą, że dozwolonem zostało przyjmowanie depesz w języku polskim na wszystkich bez wyjątku stacyach. — Japończycy odnoszą w dalszym ciągu świetne zwycięstwa nad Chińczykami. W kołach wojskowych Europy wywołuje powszechne zdziwienie znakomite kierownictwo, precyzya ruchów i bitność armii japońskiej. — Komisya porządkowa parlamentu niemieckiego odrzuciła wszystkie wnioski marszałka Lewetzowa o powiększenie władzy marszałka i zmianę porządku obrad.

Teatr i muzyka. W ubiegłą sobotę wznowiono na scenie poznańskiej czteroktową komedyę Bałuckiego p. t. Krewniacy. Główne role spoczywały w rękach pani Skirmuntowej, Królikowskiej i Wróblewskiej oraz pp. Jakubowskiego, Sosnowskiego, Trapszy i Rapackiego. Wesoły utwór odegrano bez zarzutu, a na wyszczególnicnie zasługują pani Skirmuntowa, oraz pp. Jakubowski, Trapszo i Rapacki, który dowiódł znowu prawdziwego talentu do ról charakterystycznych o lekkim humorystycznym zakroju, — W czwartek ukaże się na scenie poznańskiej czteroaktowy dramat Władysława Rabskiego, redaktora pisma naszego p. t. „Zwyciężony“. Utwór ten osnuty jest na walkach politycznych, wstrząsających Księtwem poznańskiem i porusza działalność komisyi kolonizacyjnej. Główne role spoczywają w rękach czwartkowego beneficyanta, utalentowanego artysty p. Sosnowskiego, panny Zimajer i panny Wróblewskiej. Sztukę tę wystawią również sceny galicyjskie. — W Berlinie z powodzeniem wystąpił warszawski pianista p. Melcer, biorąc udział w koncercie pani Niklas Kempen. — Paryzki teatr „Oeuvre“ wystawił dramat indyjski z XVI wieku przed Chr. przypisywany królowi Sudraka p. t. „Chariot de terre cuite“ (Wózek z terakoty), poprzedzony odczytem p. Wyzewy, znanego literata francuzkiego. — W Lublinie wystawi w przyszłym tygodniu Towarzystwo dramatyczne p. Józefowicza wesołą krotochwilę p. Feliksa Kwaśniewskiego p. t. „Papa papy“. — Warszawski Teatr rozmaitości wznowi niebawem komedyę Lubowskiego p. t. „Jacuś“. — Goszczące obecnie w Kielcach Towarzystwo artystów dramatycznych pod dyrekcyą p. St. Staszewskiego, d. 2 bm. odegrało pierwszy raz komydyę w 4 aktach p. t. „Kolejarze“, oryginalnie napisaną przez pp. H. Michalskiego i S. Łapińskiego. Wykonanie było wogóle bardzo poprawne. Obecnych na przedstawieniu autorów licznie zebrana publiczność trzykrotnie wywołała. — Sudermanowska „Walka motyli“ ukaże się w teatrze lwowskim 11 b. m. Zaraz po „Walce motyli“ wystawi dyrekcya najnowszą komedyę Bałuckiego p. t. „Ciepła wdówka“ — W dniu 18 lutego br. urządza poznański „Sokół“ koncert na budowę sali gimnastycznej. W koncercie wezmą udział artyści teatru poznańskiego i krakowskiego, oraz własna kapela „Sokoła“. Przedstawienie odbędzie się na sali Lamberta. — Poznańskie „koło śpiewackie polskie“ urządza 14 b. m. doroczny koncert zimowy na sali Lamberta. Program obejmuje wyłącznie utwory Moniuszki: Halkę, Flisa i Hrabinę.

Warszawski tygodnik „Prawda“ drukuje w odcinku piękny poemat dramatyczny p. t. „Duchy“. Utwór ten wyszedł z pod pióra redaktora „Prawdy“ Aleksandra Świętochowskiego. Po wielce obiecującym wstępie, zdającym się zapowiadać wspaniały ogólnoludzki poemat filozoficzno-społeczny, w pierwszej części autor roztacza przed nami nakreślone z artyzmem niezwykłym ciekawe obrazy z życia hordy pierwotnej. Po za wybitnym poetą i stylistą wytwornym, wychyla się z kartek tego poematu poważne oblicze uczonego badacza zamierzchłych dziejów ludzkości.

Zmarli:

Dr. Kutschera, członek sejmu czeskiego i przywódzca Młodoczechów, zm. 17 stycznia w Pradze.

Edward Thiele, kapelmistrz i kompozytor, autor pieśni „Deutschland. Deutschland über alles“ zm. w Dessa w miesiącu styczniu.

Bejamin Godart, kompozytor francuzki, autor symfonii „Tasso“ zm. w Cannes w miesiącu styczniu.

BIBLIOGRAFJA.

Agi-Wdaj. Dawna powieść. Kraków. Nakładem Druk. związkowej. G. Gebethner i Sp. 1895. Cena 3 m.

Bełza Stan. Na Lagunach. Warszawa. Gebethner i Wollf. 1895. Cena 5 m.

Estreicher Stan. dr. Studya nad historyą kontraktu kupna w prawie niemieckiem epoki frankońskiej I. Kraków. Nakładem autora. G. Gebethnera i Sp. 1894. Cena 2 m.

Milkuszyc Marya. Przemysłowcy, powieść. Warszawa. Nakł. G. Centnerszwera 1894. Cena 3 m.

Łopuszański Tadeusz. Pamiętnik c. k. Towarzystwa gospodarskiego 1845—1894, z aktów urzędowych. Lwów. Nakład Towarzystwa, Gubrynowicz i Schmidt. 1894. Cena 3,60 m.

Hajota. Ich syn, powieść współczesna. Tom I i II. Warszawa. Nakład Towarz. Paprockiego i Sp. 1895. Cena 2 rs.

Kozłowski W. M. Życie rośliny. Warszawa. Druk. Jl. Sikorskiego 1894. (Z rycinami w tekście). Cena 80 kop.

Łoziński Br. Prawo zwierząt. (Odbitka z Przewodnika nauk. i liter.). Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1895. Cena 1 złr.

Mickiewicz W. Żywot Adama Mickiewicza, podług zebranych przez siebie materyałów, oraz z własnych wspomnień. Tom IV. Druk „Dziennika Pozn.“ Cena 6 m.

Odpowiedzi Redakcyi.

D. Patent dojrzałości, uzyskany w wyższym zakładzie naukowym panien Danysz w Poznaniu, uprawnia panią do wstąpienia na którykolwiek z uniwersytetów szwajcarskich i do starania się o dyplom doktorski. Gdyby pani jednak miała zamiar składać egzamin państwowy z medycyny, należałoby się poddać egzaminowi dojrzałości w gimnazyum męzkiem.

Cz. Zamieściliśmy. Prosimy o więcej tłomaczeń z dziedziny belletrystyki.

Sprostowanie.

Do Nr. 4 i 5 zakradło się kilka omyłek, które niniejszem prostujemy: W artykule „Poeta Nirwany“ (Nr. 4) czytać należy na str. 42, łam 1, wiersz 9 od dołu zamiast „urody“ — „nudy“, na str. 43, w przedostatnim ustępie, w zdaniu początkowem braknie słów „znajduje“ (się konający) oraz „który jest“ (poeta i t. d.). W tym samym ustępie czytać należy zamiast „wyrobienia“ — „zwyrodnienia“. W nr. 5 na samym wstępie w rubryce „Treść“ czytać należy zamiast „politque“ — „politique“, zamiast „Szkicce antipologiczne“ — „Szkice antropologiczne“, zamiast „psendonaukowa“ — „pseudonaukowa“. W artykule zaś p. t.: „La politique royale“ (nr. 5.) str. 1. łam 3, wiersz 15 od dołu czytać należy zamiast „potęgę“ — „postęp“, w łamie 2 wiersz 26 od dołu opuszczono przed wyrazem „kościoła“ wyraz „hierarchii“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 7. Poznań, Niedziela 17go Lutego 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ

O naszych publicznych zadaniach architektonicznych i ich przeprowadzeniu.

II.

Każdy przywódzca postawiony na czele budowli, a obcy nam językiem, stara się — jak jest rzeczą naturalną — w pierwszym rzędzie dobrać sobie pomocników swej narodowości, z którymi porozumieć mu się łatwiej. Ztąd ukazują się odnośne inseraty najprzód w berlińskich pismach fachowych, a wszelkie zabiegi Polaków, aby dostać się do współudziału w zarządzie, pełzną na niczem. Tak powstaje cały zarząd na naszych budowlach publicznych, obcy nam zupełnie.

Gdy raz tę kwestyę poruszyliśmy na większem zgromadzeniu, mówiono nam ze strony przeciwnej, a gotowej do przytaknięcia wszystkiemu, co „u góry się dzieje“, że tak względy na „Berlin“ postąpić nakazywały, lecz że nasi za odpowiednią kompensatę uważaćby sobie mogli, iż wszelkie roboty rozdawane będą katolikom i to naszym.

W innym przypadku wiadomo nam, iż architekt, obcy nam językiem, za zasadę uważa, by grubsze roboty oddawać tylko naszym, a za subtelniejsze wykonania budowlane wtedy tylko przyjąć raczy odpowiedzialność, jeżeli one powierzone zostaną znanym mu obcokrajowcom. Takie postępowanie dzieje się z wielką ujmą dla naszych rzemieślników, którym na miejscu odbiera się sposobność dalszego kształcenia. Dopóki to przez taki podział pracy będziemy się sami poniżali, oddając cugle nad sobą w obce ręce? Mylą się bardzo ci, co podsuwają nam możliwość uznania tak dziwnego rodzaju kompensaty. Architektom naszym więcej zapewne, niż na zysku materyalnym, zależy na utrzymaniu chwały polskiego imienia, a poniżająca dla nich jest myśl sama, że kronikarze przyszłych pokoleń mogliby zanotować, iż dla braku własnych sił musiano i w naszym wieku w projektach budynków kościelnych zapożyczać się u obcych, musiano na czele budowli stawiać obcych nam językiem, a nawet religią! Wstydby nas być powinno, iż sami sobie poradzić nie możemy. Ale myśl taka nie męci spokoju w decydujących sferach. Lwi udział przypada architektom *obcym*, protegowanym przez wpływowe osobistości *nasze*, a polski architekt odgrywa rolę kopciuszka. Czyż wobec tego, co się w około nas dzieje, my sami w ten sposób nie podajemy broni przeciwko sobie? Czyż nie wstydby nas było, gdyby o naszem współudziale w dziełach architektury na Wielkopolskiej ziemi podawała w przyszłości historya sztuki tyle, co przy starych zabytkach w Galii lub Panonii że wszystkie wystawili tylko Rzymianie. Ci zaś panowie świata, z pewnością prócz pomysłów i kierownictwa budowli, niczego innego nie dostarczyli, pozostawiając robociznę narodom podbitym i niewolnikom.

Czyż to nie można było zainicyować np. budowy seminaryum duchownego przez rozpisanie konkursu w pismach naszych? Do wypośrodkowania potrzeb miejscowych i udzielenia bezinteresownej rady przy ustawieniu programu do takiego konkursu znalazłyby się odpowiednie osobistości, a wyrażamy mocne przekonanie, iż do opracowania tego nie zbyt trudnego zadania na miły apel z góry wydany stawiłby się niejeden odznaczony już architekt z pruskiego zaboru i z Galicyi. Ile to pięknych budynków w Galicyi, albo też w Królestwie przychodzi przez konkursy do skutku!

Przeciwko konkursom nadmienićby można, co już słyszeliśmy nieraz, iż one nie wydają czasem dodatniego rezultatu, a urządzenie ich jest mozolne i z większemi kosztami połączone. Na to odpowiedzieć można, co następuje: Główną podstawą i rękojmią korzystnego rezultatu w każdym konkursie jest jasny program i wyrażenie w nim wszystkiego, co się przez zamierzoną budowę osiągnąć pragnie z onaczeniem kosztów w przybliżeniu. Zmusza to do należytego wykonania wszelkich robót przedwstępnych, przeciwko czemu u nas bardzo grzeszyć się zwykło. Uznaną zaś jest w budownictwie rzeczą, iż skrupulatnie wykonane prace przedwstępne z dokładnem oznaczeniem kosztów, nie przekraczających możności budowlodawcy, umożliwiają zwykle zaprowadzenie znacznych oszczędności przy wykonaniu; na nic więc wydatków żałować nie należy. Przed rozpoczęciem budowli powinno na papierze wszystko aż do wykonania w surowcu być zupełnie obmyślone, nawet urządzenie wewnętrzne co do kosztów scharakteryzowane; natenczas wyklucza się z góry zbytnie przekroczenie preliminowanych kosztów. Dla *architektów* może być rezultat konkursów takich o tyle ujemnym, o ile w nich, jak to się np. w Niemczech często zdarza, zbyt wielu bezskutecznie udział bierze i za wiele pracy nie wynagrodzonej na marne idzie; dla rozpisującego konkurs wszakże rzadko pozostaje tenże bez rezultatu, nic zaś nie informuje budowlodawcy tak dokładnie o możliwości rozwiązania zadania architektonicznego w sposób przeróżny, jak różne prace dostarczone na konkurs. Ztąd też w Niemczech na wszelkie większe projekty architektoniczne, należące do zarządów gminnych, lub kościelnych, rozpisują zwykle konkursy, które już wielu nieznanym talentom na wierzch wybić się pozwoliły. Jeżli zważymy jeszcze, iż konkursy w innym razie możliwą protekcyę pojedyńczych osób wykluczają, to objektywnie rzeczy biorąc, zbyt wiele znajdujemy powodów, które i u nas za większem, niż dotąd przeprowadzeniem konkursów i na polu architektonicznem przemawiają.

Innym błędem, będącym w związku z ladajako przeprowadzanemi robotami przedwstępnemi, jest sposób dochodzenia do projektów przez nasze organy kościelne. Często stawiają one za *conditio sine qua non*, że prace przedwstępne, a mianowicie projekt i kosztorys nic nie mają kosztować — zwłaszcza, jeżli projektodawca wykonanie budowli otrzyma. W takich warunkach, jeżli podjemca sam nie jest o tyle architektem, żeby odnośny projekt i jego szczegóły mógł opracować, to musi się udać do architekta jakiego, zadawalniającego się rolą kopciuszka, którego podjemca, mając widoki odbicia się przy budowli, opłacić musi, gdyż trudno przypuścić, żeby architekt, który wiele czasu i nakładów poświęcił na studya akademickie, miał kilka tygodni lub miesięcy nad pracami przedwstępnemi, bez wszelkiego wynagrodzenia prześlęczeć.

Że takie stanowisko architekta jako głównego pomysłodawcy i wobec budowlodawcy i wobec wykonującego podjemcy jest poniżającem, o tem sądzę, rozwodzić się nie potrzeba. Zgubniejszem wszakże dla przeprowadzenia prawidłowego jakiejś lepszej budowli jest, gdy organa kościelne, chcąc sobie budowanie jak najwięcej ułatwić, uznają za stósowne oddać podjemcy wykonanie budowli „ryczałtowo“ za jakąś umówioną sumę. Wtenczas choćby nawet przybrano do nadzoru architekta, jak się nieraz dziać zwykło, to ten w charakterze nadzorcy wiele nie pomoże, chyba od najgrubszych błędów budowlę ochroni; wykonanie przy takiej procedurze dla oka znawcy pozostawia zwykle wiele do życzenia, zwłaszcza, jeżli za robotę ceny przez submisyę obniżono. Nieraz zdarza się, iż ryczałtowy podjemca, chcąc koniec z końcem związać, przybiera sobie ku zgorszeniu ludu przeróżnego rodzaju obcych robotników, nie zważając ani na ich narodowość, ani religią, ani

prowadzenie; potem zaś, gdy ci mu się ulotnią, pozostaje naszym rzetelniejszym rękodzielnikom łatanie dziur w udziale.

Gorzej jeszcze dziać się zwykło, gdzie podjemcę, nie będącego architektem, pozostawią dozory kościelne, uważając siebie za dość kompetentne, ze względów fałszywie zrozumianej oszczędności bez żadnego nadzoru architektonicznego, którego brak przy końcu budowli odbiorem przez królewskiego budowniczego zasłonić się starają. „Oszczędność“ tę przy nadzorze posuwają nawet dozory kościelne tak daleko, iż do poniesienia połowy kosztów odbioru zniewalają podjemcę i to z polecenia władzy, nie zważając na to, w jak niemiłe położenie przez takie zastrzeżenie stawiają odbierającego architekta względem podjemcy. Braku zawodowego nadzoru i gruntownej znajomości rzeczy nie zastąpią często choćby jak najlepsze chęci i zabiegi gorliwych członków dozoru.

Podobnie, jak w innych zawodach, wytwarzają się dziś i w budownictwie pewne specyonalności, jak o tem za granicą przekonać się można. Tylko u nas nastąpił tu w ostatnich czasach zwrot jakoby w innym kierunku: pospiech gorączkowy i dyletantyzm z jednej strony a brak zaufania do swoich rozwielmożniają się coraz więcej. Niejeden „lajek“ u nas będzie miewał wykłady o wszelkich sztukach, a o budowie choćby i kościołów katedralnych będzie rozprawiał z miną znawcy; inny znów będzie chciał budować wszystko tylko w „czysto gotyckim stylu“, a z dalszej rozmowy z nim, jeżliś ciekawy, przekonasz się, że ani pojedyńczych stylów pomiędzy sobą rozróżnić nie umie. Śmiałbyś przeciwko czemukolwiek zaprotestować, to biada ci ty fachowcze o ciasnych poglądach: lekceważący uśmiech politowania dostanie ci się w udziale.

Ztąd to pochodzi, iż przypatrzywszy się bliżej różnym nowościom na naszem polu sztuki kościelnej, przyznać musieliśmy słuszność i innym kompetentnym znawcom, którzy mówili: Co za szkoda tych pieniędzy, które przy umiejętniejszem kierownictwie korzystniej i ku większemu zbudowaniu przyszłych pokoleń mogły były być obrócone!

Ograniczając się dziś na tych uwagach ogólnych, pomijamy już szczegółowy temat o restauracyi lub przebudowaniu naszych kościołów, uważając go za najtrudniejszy z przedmiotów architektonicznych; spodziewamy się później powrócić do niego osobno. Jako na zastraszającą wszakże próbkę tego, co u nas pod względem niezajomości rzeczy przed 9 laty zdziałano, wskazujemy na ową dobudówkę kaplicy przy kościele św. Marcina w Poznaniu, której radzilibyśmy się przypatrzeć bliżej. Moglibyśmy wspomnieć inny jeszcze poważny nasz zabytek z XV wieku, o którego „restauracyi i upiększeniu“, podjętych w najlepszej chęci, ale w dyletancki sposób, znawcy ze śmiechem — jakby anegdotki jakie — opowiadają; lecz wolimy i tę sprawę zachować sobie do późniejszego omówienia.

Czyż wobec tego, cośmy przytoczyć uważali za konieczne, — a twierdzenia nasze moglibyśmy poprzeć przykładami, nie uznamy w interesie i religijnym i narodowym energicznego działania jakiego grona znawców rzeczywistych z takim programem, jaki sobie wytknęło np. Stowarzyszenie św. Andrzeja Boboli, za konieczne? Albo też, podd jemy tę myśl, czy nie byłoby i u nas — jak to już istnieje w Galicyi — na czasie, ażeby w związku z Towarzystwem Przyjaciół Nauk, albo też ze względu na rząd odrębnie dla siebie założyć grono podzielonych na powiaty lub dekanaty konserwatorów, do którychby odnośne organa kościelne w razie zamierzonej budowy lub restauracyi po radę zgłaszać się mogły? Na rząd nie mamy się co oglądać, a przynajmniej nie spodziewajmy się w naszych sprawach od niego inicyatywy. Wiele już prowincyi w Niemczech ma przez rząd ustanowionych konserwatorów. My dostaniemy konserwatora pono ostatni; a jeżli on nie będzie naszym rodakiem, czyż spodziewać się możemy po nim zamiłowania do zabytków przeszłości naszej? Sami raczej zabierzmy się — ale odpowiednio — do rzeczy, to i rząd prędzej przyjdzie nam może w pomoc.

Przypominamy, iż o podobnych do kwestyi poruszonych projektach, rozprawiano u nas zeszłego roku na wiecu katolickim i uchwalono nawet dość daleko sięgającą rezolucyą; dotychczas wszakże z niej nie wprowadzono w życie niczego.

W interesie sztuki naszej i sztuki kościelnej stawiamy zapytanie do Władz naszych duchownych i poddajemy pod ich rozwagę, czy wobec wielu spraw budowlanych, przychodzących ciagle pod rozstrzygnięcie konsystorzy arcybiskupich, nie odczuwają potrzeby, ażeby w nich obok syndyka z równemi jak i on prerogatywami był ustanowiony i zasiadał radzca architekt dyecezyalny, któryby żywem słowem przy debatach w sprawach budowlanych niejedno łatwiej i prędzej wyświecił, aniżeli wzywany z po za konsystorza znawca przez piśmienne sprawozdania lub opinie piśmienne dokazać może. W wielu innych dyecezyach dawno już urzędnika takiego konsystorze posiadają; czyż u nas architekturę, w związku z kościołami będącą, uważa się jako coś tak podrzędnego, że dla niej fachowy decernent jest nie potrzebny? Fundusze przecież na cel tak ważny i u nas znaleśćby się powinny.

A dalej, czy nie byłoby na czasie, aby przyszłym kapłanom naszym, jako mającym później wnijść w styczność najbliższą ze sztuką kościelną, podczas pobytu w seminaryum przez odpowiednie wykłady dać dyrektywę w tym kierunku jak sprawy budowlane lub odnoszące się do sztuki kościelnej prawidłowo traktować należy? I to dzieje się w Niemczech oddawna, dla tego też tam dalej pod tym względem postąpiono, niż u nas.

Oddajemy te myśli i poruszone sprawy pod bliższą rozwagę kół i osób, do których one należą, z tą niepłonną zapewne nadzieją, iż zmiana, a przynajmniej naprawa dotychczasowego kierunku, niezgodnego ze zapatrywaniami innych narodów i z postępami na polu budownictwa, powinna i u nas wkrótce nastąpić.

Jacz.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„*Postęp*“ pisze w Nr. 34 w artykule pod tytułem „Stronnictwo ludowe“:

„Dawniejsza walka arystokracyi i demokracyi, to bój był duchowy, który posuwał pojęcia czasu za postępem. Zwolennicy przestarzałych zapatrywań, czuć się muszą dziś bardzo słabymi, gdy do wyzwisk się uciekają, jakich się widocznie od swoich fornali nauczyli. O toby zresztą była mniejsza, ale smutna, że we wir tej walki wciągnięto duchownych przywódzców, kapłanów naszych. Gdyby ci mogli się przyjrzeć fermentowi, gdyby mogli posłyszeć szemrania, i nie samych słuchali faryzeuszy i pochlebców, przekonaliby się łacno, jak się zapatrywania na niekorzyść kościoła zmieniają.

Otwarcie nam mówią, że Rzym i kapłani nas zdradzają, obawiamy się nie bez podstawy, ażeby wpływy duchownych nie osłabły i nie stracił na tem kościół. Lud widząc, że gdy ci, którzy na czele jego stanęćby w interesie jego powinni, występują przeciwko niemu, szemrze po cichu, a z tego ludzie przewrotu wybijają kapitał, jakoby kościół przeciwny był wolności i łączył się z gnębicielami ludu. Wahałem się z tem odezwać, ażeby nie przewrócono kota do góry nogami i „Postępu“ za masona nie okrzyczano. Toć „Kuryer“ w tem mistrzem nad mistrzami. Ale darmo, tylko prawda ocalić nas może. Dziś prawda w ludzie, który nie chce w wybujałym lojaliźmie szukać zbawie-

---

PRZED JUTREM.

Trudno bez żalu patrzeć na zagładę
Dawnych form bytu, do których przywykły
Oczy i serca, tak zatrzymać rade
Na fali czasu cień przeszłości nikły.

Trudno nie boleć, widząc jak zamiera
To, z czem za młodu byliśmy związani...
Jak naszych uczuć, naszych dążeń sfera,
Powoli w ciemnej nurza się otchłani.

Lecz boleść nasza z dniem się kończy naszym
I pośród świata długo nie zagości —
I rozpaczliwą skargą nie odstraszym
Tryumfalnego pochodu przyszłości.

Przyszłość ma prawa silniejsze i przed nią
Ustąpić musi teraźniejszość zwiędła,
Chociaż chce chwilę przedłużać poprzednią
I trwać w postaci w jaką się oprzędła.

Próżno się czepia obumarłych tkanek,
I w nich kształt przyszły więzić się wysila —
Z martwej powłoki w nowy życia ranek
Przyszłość na skrzydłach wyleci motyla.

Świat zrzucić korę zbutwiałą pospiesza
Bo ją rozsadza młoda, silna, zieleń —
Nienarodzonych niezliczona rzesza
Z niecierpliwością czeka chwili wcieleń.

Nowe uczucia, myśli, ideały,
Nowe kierunki, nowe firmy istnień,
Ćwiartują łona, co je rodzić miały,
Aby przyspieszyć dzień urzeczywistnień.

Ci, którzy patrzą na dzisiejszy przełom
Pod nowych haseł i dążności wodzą,
Muszą złorzeczyć bezlitośnym dziełom,
Któremi dzieci w pierś macierzy godzą.

Musi ich trwożyć ten szalony zamach,
Który pozornie zrywa wszystkie węzły,
I w zacieśnionych nie mieści się ramach
Pojęć, co w martwym zastoju uwięzły.

A przecież cała ta burzliwa siła
To zawsze tylko ciąg przyszłości dalszy —
W jej łonie dawno jako zaród tkwiła,
Pragnąc osięgnąć rozwój doskonalszy.

Więc choć się zwraca przeciw swej macierzy
I straszy ojców swem potwornem licem,
Do pnia wspólnego pokoleń należy
I dawnych prądów prawym jest dziedzicem.

Gdy się na światło dobędzie z ukrycia,
Spadnie z niej kształtów pierwotnych ohyda —
I pojednana z warunkami życia
Świeża latorośl, świeże kwiaty wyda.

I to, nad czego boleliśmy stratą,
Znów odświeżonym zajaśnieje bytem,
Łącząc przeszłości spuściznę bogatą
Z nowych porywów młodzieńczym rozkwitem.

El...y

Styczeń 1895.

FRANCISZEK RAWITA.

ANDZIA.

NOWELA.

(Dokończenie.)

Potem ręką sięgnęła machinalnie do paska.
— Któraż to godzina? — spytała zakłopotana — Już czas, ażeby Jutrzenka do odwrotu mię zaprosiła.

— O, nie czas jeszcze! nie! — zawołał Janek, — zostań, zostań jeszcze!

Wydobyła zegarek i spojrzała.

— Druga minęła..., późno...

— Coś innego jednak ciężyło jej na sercu. Chowając przeto zegarek rzekła do niego pieszczotliwie:

— Ty jesteś dziecko, ale... dobre dziecko.

W tej chwili spojrzenie jej zatrzymało się na podłodze, u nóg leżała chusteczka, która przy wyjmowaniu zegarka wypadła. Zrobiła ruch, ażeby ją podnieść, ale Janek schylił się szybko i chusteczkę pochwycił.

Noc wyciągnęła rękę. Janek obracał śliczną batystową chusteczkę na wszystkie strony

nia, ale w postępie i oświacie, w pracy nad zachowaniem narodowości, którą lojalizm zabija.“

—

„*Gazeta opolska*“ donosi w nr. 12 w artykule p. t. „Szykana bez końca“:

„Z Katowic dochodzi nas znowu krótko przed zamknięciem redakcyi niniejszego numeru wiadomość, że policya rozwiązała tam w niedzielę posiedzenie Towarzystwa przemysłowców, a to z tego powodu, że zjawił się na posiedzeniu pewien przybysz z Poznańskiego, który w Katowicach proceder golarski prowadzi (i z Niemką żonaty jest) i stanął w głębi sali. Panu komisarzowi zaraz to podpadło i zapytał po cichu prezesa, czy nowo przybyły do Towarzystwa należy? Prezes widząc, że się na jakąś burzę zanosi, zapytuje się gościa, czy go kto wprowadził, w innym razie wyprasza go ze sali. Na to pan ten podchodzi do prezesa i zaczyna się tłomaczyć, poczem powstaje komisarz i rozwięzuje posiedzenie, nie dawszy temu panu czasu się wytłomaczyć, ani prezesowi do użycia innych środków. Zainterpelowany komisarz, dla czego rozwiązał posiedzenie, powiedział, że dla tego, żeśmy pana tego nie usunęli ze sali. Gdybyśmy byli nieproszonego gościa gwałtem wyrzucili, czego uczynić zaraz nie mogliśmy, gdyż pan ten nie usiadł i tylko stojąc dalej się chciał tłomaczyć, byłaby prawdopodobnie wytworzyła się burda, co by może niejednemu bardzo było na rękę. Pan komisarz tak naglił do opuszczenia sali, grożąc przekroczeniem prawa, że członkowie nawet piwa wypić, ani częściowo zapłacić nie zdążyli...“

—

W „*Gazecie Toruńskiej*“ (nr. 32) czytamy:

„Tutejsza „Presse“ donosi, że towarzystwo katolickich czeladników rzemieślniczych obchodziło w niedzielę urodziny cesarskie. Mowę okolicznościową wygłosił prezes, chwaląc sprawiedliwość monarchy, który wszystkich poddanych równie kocha. Mówca skończył — tak donosi „Presse“ — okrzykiem na cześć cesarza, który zgromadzeni z zapałem powtórzyli.“

—

„*Gazeta Grudziądzka*“ podaje następujący ciekawy przyczynek do historyi niemiecko-polskich stosunków:

Pod Gnieznem w mieście W. powstała w dzień urodzin cesarza w lokalu publicznym karczemna bójka, wywołana napaścią i nietaktem komisarza policyjnego, germanizatora pierwszej klasy. Przy stole zrobił on uwagę nauczycielowi Z., że powinien być Niemcem, gdy się z Niemką ożenił. Pan Z. odparł tę napaść z godnością, odpowiadając, że kto się urodził Polakiem, umrzeć też Polakiem powinien. Wtedy komisarz rozkazał nauczycielowi J., aby uderzył w twarz kolegę. J. usłuchał tego rozkazu! zaco w odwecie odebrał taki policzek, że spadł z krzesła. Wtedy mości komisarz, zapominając o własnej godności, a może zbyt ufny w nią, uderzył kijem w głowę pana Z., który mu w zamian (w obronie życia własnego) nakładł, ile się zmieściło.

Sprawę przyjął prokurator i ciekawa rzecz, jak się skończy, — tymczasem nauczka dla wszystkich, aby nie obchodzić urodzin cesarskich przy kieliszku i lepiej za te pieniądze, obetrzeć łzy niejednemu nędzarzowi, których dzisiaj tak wiele.

—

W sprawie głośnej deklaracyi ks. arcybiskupa **Stablewskiego**, odrzucającej wszelką odpowiedzialność za artykuły „Kuryera Poznańskiego“, a podanej do wiadomości publicznej przez ks. kan. **Echausta**, zamieszcza „*Orędownik*“ następujące uwagi:

„Po przeczytaniu tych deklaracyi mimowoli nasuwa się pytanie: czy one nie przyszły zapóźno? „Kuryer“ od lat czterech dość wyraźnie powoływał się przy wielu sprawach na powagę ks. Arcybiskupa, na jego „życzliwość“, na to, że jest organem duchowieństwa. Ks. Arcypiskup sam osobiście mieszał się w rozmaity sposób do spraw czysto narodowo-politycznych. Pytanie: czy niektóre artykuły w „Kuryerze“ pojawiają się w tem piśmie z pióra, czy polecenia, czy natchnienia ks. Arcybiskupa? — oddawna zaprząta umysły publiczności. Dla tego „Orędownik“ już przed dwoma laty, dobrze oceniając sytuacyę, stawił „Kuryerowi“ pytanie: czy jest organem ks. Arcybiskupa, czy nie?

Dziwna rzecz, że wtedy, kiedy sytuacya nie była zbyt naprężona, kiedy więc odpowiedź była łatwa, na to pytanie odpowiedziano „Orędownikowi“ nie w „Kuryerze“, ale w pałacu arcybiskopim i to w sposób wprost karczemny! a dziś, kiedy położenie jest bez porównania trudniejsze, kiedy już rozpowszechnionym poglądom i uprzedzeniom trudno skutecznie zapobiedz, dziś dopiero decyduje się ks. Arcybiskup na to, żeby się publicznie wyrzec artykułów Kuryera“. Dwóch lat zatem potrzebowano tam, aby dać jasną odpowiedź na pytanie, oddawna rozłożone jak na talerzu.

Bądź co bądź lepiej, że deklaracya nastąpiła późno, aniżeli, gdyby jej wcale nie było.

Dowiedzieliśmy się zatem z listu ks. kanonika Echausta, że ks. Arcybiskup nie odpowiada za artykuły „Kuryera“.

Na tem bynajmniej sprawa jeszcze nie załatwiona. Z deklaracyi ks. kan. Echausta przebija obawa, aby przez wciąganie w polemikę Stolicy arcybiskupiej nie poniosła szkody powaga duchowieństwa i wogóle powaga naszego Kościoła. Obawa ta jest niestety aż nadto uzasadnioną. Należy wszakże pamiętać, iż nie tylko pism jest obowiązkiem unikać wciągania Stolicy arcybiskupiej w polemikę, ale także jest obowiązkiem ks. Arcybiskupa nie mieszać się do spraw czysto świeckich i politycznych w takiej formie i w takim kierunku, że pismo polskie, które się szanuje, musi uważać za swój święty obowiązek wystąpić z całą otwartością i potrzebną energią przeciw bezpośredniemu czy pośredniemu wpływaniu ks. Arcybiskupa na nasze świeckie sprawy narodowe.

Deklaracya ks. kanonika Echausta sprawy całej nie wyczerpuje także. Przecież o sam artykuł „Kuryera“, napisany z powodu cesarskich urodzin, nie chodzi, ale o całe stosy artykułów. Ks. kan. Echaust jest prezesem Rady Nadzorczej drukarni „Kuryera“, z którą wydawnictwo „Kuryera“ jest ściśle związane. Jakież to ztem jest gospodarstwo, kiedy ks. prezes Rady Nadzorczej dziś dopiero tak stanowczo się odzywa w swym organie, skoro został do tego zmuszonym przez list ks. Arcybiskupa.

Zaprawdę nie ma czego powinszować ks. kan. Echaustowi i gdyby chciał być konsekwentnym i politycznie rozważnym, to powinien zawczasu złożyć urząd prezesa Rady Nadzorczej, bo przy niepomyślnem ukształtowaniu się stosunków może się znaleźć w położeniu, że będzie musiał częściej podobne deklaracye składać. Uwagę tę czynimy nie żeby mu dawać rady, ale ze względu na naprężone u nas stosunki.

—

„*Goniec Wielkopolski*“ nawiązując do uwag „**Sulli**“ o „**Sokołach**“ tak pisze w numerze 29:

„Jeżeli teraz grono amatorów pragnie dać koncert publiczny na budowę sali, to witam myśl tę z uznaniem dla nich i dla Zarządu „Sokoła“, ale przyznacie mi, że myśl ta jest urywkową, — chwilowym zapałem; pokażcie mi głębszy plan prędkiego dojścia do zamierzonego celu? Czemu częściej nie ma takich koncertów? Czemu tak rzadko odbywają się wieczornice? Czemu nie zaprosicie panowie Polek do udziału w pracy agitacyjno-organizacyjnej?! Dla czego Zabór pruski nie ma dotąd swego „Przewodnika sokolskiego“, w którymby każdy czerpał wiedzę i nowiny o „Związku“? Przecież lwowski dawno nam już nie wystarcza. Rozpocznijmy w tym roku nowym zdwojoną pracę, starajmy się wszelkiemi siłami ciągle o nasz rozwój, a wtenczas ujrzym niebawem wraz ze Sullą owę salę własną, do której zapewnewne wszyscy wzdychamy gorąco.“

—

Przegląd prasy słowiańskiej.

W Czerniowcach na Bukowinie poczęło wychodzić nowe pismo rusińskie p. t. „*Bukowinski Widomosti*“. W artykule wstępnym, zatytułowanym: „*Naszi cili i stremleneja*“ (dążenia), piszą:

„Nowe dziesięciolecie nie dobrze się poczęło dla austryackiej Rusi. W Galicyi, gdzie Rusini stanowią liczebnie znaczną większość, mają przewagę polityczną Polacy. Tam ruscy posłowie galicyjscy zrobili z Polakami ugodę, mocą której nie wolno im skarg podnosić publicznych na ucisk języka rusińskiego, ażeby Polacy dobrowolnie rozszerzali prawa naszego narodu. Od tej ugody rozpoczęła się t. z. nowa era. Rusińscy ugodowcy dotrzymali swej obietnicy, przestali występować śmiało i odważnie w obronie swego narodu, zaniechali walki, której celem było usunięcie krzywd ruskiej narodowości — a Polacy doskonale pojęli, o co posłom rusińskim chodzi. Jednemu dali dobrą parafią, drugiemu tłustą posadę komornika, trzeci otrzymał pensyą, synowie nowoerystów zdobyli różne zapomogi i stypendya, a lud ruski otrzymał — gruszki na wierzbie. Ba — jeden z nowoerystów (poseł Romańczuk), który przejrzał tę politykę, odrzekł się swego dziecka — nowej ery, nazwawszy ją publicznie zgubą rusińskiego narodu.

„Lubo tego można się było na samym początku spodziewać, to nowa era pobałamuciła wielu Rusinów bukowińskich. Ci z naszych bukowińskich małodusznych Rusinów, którym straszną była wiadomość o prawa narodowe, myśleli, że jak się pobratają z Polakami, to bez trudu, małym kosztem zdobędą i dla nas znaczenie, a sami porobią interesy tak dobre, jak galicyjscy nowoeryści.

— Mam początek tajemnicy! — zawołał.

Noc uśmiechnęła się.

— I owszem... zgaduj...

Na jednym z rogów chusteczki była wyhaftowana bogatym szerokim haftem — który rozszerzał się jako rama i tworzył niejako ornament jedna litera. Czerwono wyszyta w tych ramach ozdobnych wyglądała jak ptaszek w klatce. Była to litera *A* wyhaftowana drukarskim sztychem. Całość wyglądała bardzo ładnie i oryginalnie. Noc pozwoliła mu wpatrzyć się i ciekawość zaspokoić.

— Czy to twoje imię?

— Moje...

Zamilkła na chwilkę, jakby się wahała.

— Chcesz wiedzieć? Powiem ci... jutro zapomnisz... Andzia...

— Pozwolisz mi tę chusteczkę zatrzymać?

— Nie... tego nie rób — rzekła łagodnie z akcentem smutnego zamyślenia — jeżeli chcesz mieć pamiątkę tej krótkiej chwili, którą spędziliśmy razem, dam ci co innego...

Odpięła bukiecik niezapominajek w fałdy domina wpięty, i podała mu.

— Przypomnij o mnie, gdy mnie już nie będzie... — rzekła.

Janek pocałował ją w rękę, i sprawiło mu to tak wielką przyjemność, jakiej przedtem nigdy nie doznawał. Ona na pocałunek odpowiedziała mu uściskiem. Zamilkła i w zamyśleniu na salę patrzyła tak uważnie jak gdyby zabawa była dla niej życiem, a jedynem pragnieniem utonąć w tym wirze. Tylko oczy Andzi błyszczały nie radością lecz smutkiem.

Odwróciła się nagle do niego, gwałtownym, gorączkowym ruchem rękę swoją na jego ręku położyła i patrząc mu w oczy, mówiła:

— Wiesz, ja jestem kobietą nieszczęśliwą. Pan Bóg jedną ręką wyposażył mię bogato, hojnie... dał mi duszę wrażliwą na poezyę, piękno, pozwolił wszystko ukochać, co tylko jest dobrem i szlachetnem na świecie, a drugą ręką wszystko to zakrył przed ludźmi...

Janek nie widział twarzy tej kobiety, ale drżenie głosu odbijało się o jego uszy akordami rozpaczy i łez.

— Nie rozumiem ciebie... — rzekł półgłosem.

— Może to i lepiej... Byłam zbyt odważną, licząc na to, że mnie nie poznasz nigdy...

— Dla czegóż nigdy?

— Będzie to lepiej dla ciebie i dla mnie... przepraszam... dla mnie tylko... bo znam ciebie już oddawna, nie znając.

— Zaczynasz mię dziwić swoją tajemniczością...

— Tak? — zaśmiała się wymuszonym śmiechem. — A... widzę Jutrzenka mię szuka... pora do domu.

Uchwyciła go gwałtownym ruchem za rękę.

— Ach, wiesz co? Napisz w moim notesiku kilka słów. Dobrze?

— Dobrze.

Wydobyła notesik, ołówek wyciągnęła gorączkowo i otworzywszy książeczkę, Jankowi podała.

— Tu... tylko wyraźnie.

Gdy Janek ołówek ujął w rękę, Andzia nachylała się i na białą kartę notesiku patrzyła.

Janek napisał: Miłość jest szczęściem.

— Szczęściem?!... — powtórzyła ostatni wyraz jak echo. Wzięła od niego ołówek, punkt postawiony przez Janka, przeciągnęła w kreskę i dopisała: i rozpaczą życia.

Janek przeczytał ten dopisek, ale Andzia schowała szybko notesik i jakby pragnęła rozmowę zakończyć, powstała z siedzienia i rzekła spokojnym głosem:

— Podaj mi rękę... chodźmy — spotkamy się z Jutrzenką.

Janek uczuł drżenie nerwowe ciała swojej towarzyszki.

— Co ci się stało? — zapytał wzruszony.

— Nic, ach nic... cóż się na balu stać może złego? Bawiliśmy się przez chwilę, a teraz rozstaniemy się.

Zbliżyła się właśnie Jutrzenka.

— Jedziemy Andziu?

— Jedziemy... Idźcie naprzód... spotkamy się przy drzwiach garderoby.

Napłynęła fala masek i rozdzieliła towarzystwo.

„Dla tego to chcą u nas na Bukowinie ci Rusini połączyć nas z Polakami i Niemcami, licząc na pomoc potężnych Polaków galicyjskich. Taki sposób nie prowadzi do dobrego, bo Polacy dla Rusinów nigdy nie byli szczerymi (!). Mając dwóch ministrów, bezpośrednich doradzców Najjaśniejszego Pana, Polacy, gdyby byli dla Rusinów szczerymi, mogliby wiele dobrego zdziałać. Ale jeżeli tego nie robią dla Rusinów galicyjskich, z których ziemi sami żyją, to cóż spodziewać się po nich nam Rusinom bukowińskim? Z tego, że ten lub ów nowoerysta zostanie bez nauki wielkiej profesorem lub inspektorem szkólnym, narod rusiński nie utyje, a ludzie zasmakowawszy raz w mamonie, dobrymi synami swego narodu być nie mogą. lecz przeciwnie dla mamony gotowi stać się niewiernymi synami. Tym sposobem szerzy się zgnilizna i wiedzie naród do zguby...

„Nasz lud na Bukowinie to przejrzał, z natury jest on szczery i podstępem oraz chytrością pogardza, to też rychło chyli się ku upadkowi stronnictwo nowoerystów. Stara partya rusińska taki sobie wytyka program działalności politycznej: spokojne pożycie z jednowiercami prawosławnymi Rumunami, niezawisłość naszej Bukowiny od Galicyi; obronę języka rusińskiego, słowiańskiego pisma, cerkiewno-etymologicznej pisowni, co najważniejsza obronę naszej prawosławnej wiary-..“

* *
*

Cetyński „*Glas Crnagorca*“ (nr. 4) wyszedł w żałobnej obwódce z powodu śmierci wojewody Nowicy Cerowicza. Tygodnik czarnogórski taki poświęca zmarłemu artykuł:

„Właśnie w dzień św. Sawy, największego święta serbskiego, umarł w Tuszyni przy swym pradziadowskiem ognisku w późnej starości wojewoda Nowica Cerowicz.

W początku zimy donoszono, że stary „Noko“ choruje — tak go w przeszłości zwał cały naród od domu władyki do kolebki w szałasach czarnogórskich — a liczył on już lat 90; ale jego zdrowie i wstrzemięźliwość życia wróżyły mu długi żywot: myśleliśmy, że pożyje między nami dłużej znakomity starzec.

„Widać Bogu się inaczej podobało i Nowica otoczony synami, oddał swoją wielką, gorącą. serbską duszę Bogu.

„Nie starczy nam miejsca i czasu, abyśmy dokładnie opisali dziś żywot słynnego junaka i wojewody, owego dobrego i pierwszego wodza ludu, owego wielkiego Serba, zasłużonego Czarnogórca. Trzebaby napisać epopeję przebudzenia się wielkiej serbskiej myśli na serbskiem południu.

„Ród Cerowiczów stoi już oddawna na czele drobniackiego plemienia. Pop Milutyn Cerowicz wstąpił w przymierze z Cetynią za czasów Piotra. Wielki wojewoda Atanko Petrowicz zaprowadził u Drobniaców sądy czarnogórskie.

„W roku 1840 ubił Nako Smaila-agę z 40 Turkami, gdy tenże chciał zabierać haracz, odtąd to Drobnica przyłączoną została do Czarnogóry. W roku 1852 brał on udział w słynnej obronie monasteru Żupy. Jak go władyka cenił, tego dowodem, że Drobniaków uwolnił od płacenia podatków dopóki żyć będzie Nowica. Prosił go, aby żył w Cetynii, ale junak wolał żyć i umierać w rodzinnem gnieździe Tuszynie, bywał jednak co rok jako miły gość u księcia Nikity. Nowica odbywał studya w żupskim monasterze, a gdy było trzeba, pisał jasno i jędrnie; najwięcej mu się podobała historya Rzymian.

* *
*

„*Slovenski Swet*“, organ Słowińców tryesteńskich pisze o projektowanej przez rząd reformie wyborczej:

Najgłówniejszem zadaniem rządu w porze obecnej jest to, aby rozwiązaną została w pierwszym rzędzie kwestya narodowościowa. Że się Słowianie sprzeciwiają reformie projektowanej, pochodzi ztąd, iż do obecnego rządu nie mają zaufania, aby kwestyą tę sprawiedliwie rozstrzygnął. Widzimy też wyraźnie, że będące u steru stronnictwa uważają reformę wyborczą za środek mający ich nadal u władzy utrzymać. Robotnicy, gdyby byli świadomi obecnej sytuacyi, żądaliby razem z nami rozstrzygnięcia kwestyi narodowościowej, bo potem łatwiej byłoby dla nich zbliżyć się do upragnionego celu.

K.

Pokój i rozbrojenie

(„*Friede und Abrüstung*“
Gustaw Biörklund.)

Najogólniej, najpowszechniej w całej Europie odczuwanem pragnieniem jest bez zaprzeczenia pragnienie pokoju. W uczuciu tem jednomyślnie łączą się wszystkie stany, stronnictwa, klasy społeczne.

Wszyscy monarchowie wyrażają je w swych orędziach i mowach tronowych, a szczerości ich bynajmniej podejrzywać nie mamy prawa — choć z drugiej strony wiedzą oni dobrze, że słowa miłością pokoju natchnione znajdują w całym narodzie sympatyczne echo i najpewniej poklask zdobyć im mogą.

Obok tego uczucia jednak istnieje jeszcze i drugie, prawie równie ogólnie doznawane przez wszystkich członków obecnych społeczeństw, z wyjątkiem może właśnie głów ukoronowanych. Jest niem wzrastające niezadowolnienie ludów gniecionych ciężarem militaryzmu. Dla zabezpieczenia pokoju państwa zbroją się, a zbroją się kosztem ostatecznych wysiłków materyalnych swych poddanych, którzy coraz większemi ofiarami okupywać muszą upragnione dobro.

Prąd ten nie ustaje ani na chwilę: nie ma roku, aby rządy nie apelowały do ofiarności ludów, aby parlamenty nie zwiększały ogólnych ciężarów, i łatwo przewidzieć chwilę w której staniemy wobec trudnej do rozwiązania zagadki. którą wybrać z dwóch dróg równie nieuchronnie do zguby wiodących. Nikt zresztą nie łudzi się co do położenia, rysuje się ono zupełnie wyraźnie. Wojna czy pokój zbrojny, jedno i drugie znaczy tyle, co klęska, upadek, bankructwo i spustoszenie. Zdawałoby się wobec tego, że dążenia ligi pokojowej — myśl rozbrojenia powszechnego, projekt międzynarowych sądów rozjemczych — powinny szybko zyskiwać szeroką popularność i zjednywać całe zastępy gorliwych, energicznych i przekonanych wyznawców.

Dzieje się jednak przeciwnie. Propaganda pokojowa mało zdobywa adeptów nie dla tego zapewne, aby jej dążenia sympatyą się nie cieszyły, lecz dla tego, że nikt w ich urzeczywistnienie nie wierzy.

Płynie to znowu wyłącznie z zakorzenionego przyzwyczajenia umysłowego. Pokój powszechny, rozbrojenie, sądy międzynarodowe — to utopia, mówią. Jak daleko sięgają historyczne wspomnienia ludzkości, istniały wojska i walki; państw nieuzbrojonych nie było nigdy, więc ich też nigdy nie będzie. Argument to zresztą dość słaby dla rozumu, niezwalczony dla wyobraźni. Rozum uczy nas, że po wszystkie wieki, a nawet za naszej pamięci zjawiały się na powierzchni ziemi rzeczy, których nigdy przedtem nie było. Każda z tych rzeczy była niegdyś utopią, zanim się stała, rzeczywistością lub zanim podobne do niej przynajmniej fakta się nie ukazały.

Ponieważ nic podobnego do rozbrojenia nie widzieliśmy jeszcze, więc go sobie wyobrazić nie umiemy. Doświadczenie uczy jednak iż nie jest rzecza niemożliwa uwierzyć w istotne czy rzekome utopie i wiarą taką masy natchnąć

Ledwie do połowy salonu doszli, stanęła przed nimi kwiaciarka.

— Daj mi jaką drobnostkę... — prosiła.

Wybrał najtańszy bukiecik ze stokrótek, zapłacił zań dwadzieścia pięćgroszy, które w kieszeni posiadał i czuł się tak uszczęśliwionym, jakgdyby cały świat do piersi przytulał.

Przed drzwiami garderoby pożegnał Andzię.

— Maski nie zdejmiesz?

— O, nie! To moje szczęście chwilowe!

Nie zrozumiał do czego ściągały się te wyrazy.

— Kiedyż się zobaczymy?

Ona pomyślała przez chwilę i odrzekła stanowczym głosem:

— Nigdy.

— A jednak do widzenia!

— Niech to, co napisałeś, stanie się dla ciebie prawdą.

Znikła we drzwiach garderoby, a Janek stał niby oszołomiony. Muzyka grała jeszcze mazura, słychać było komendę, tupanie nogami, wybijanie hołubców, ale to wszystko snem mu się wydawało. Z tego stanu pół-jawy obudził go Zyzio,

— Chodźmy... wszystko skończone...

— Chodźmy...

Janek był roztargniony, zamyślony, smutny — tak mu żal było, że rozmowa z tą nieznajomą Andzią, która go tak żywo zainteresowała, urwała się nagle, rozpłynęła się jak echo w przestrzeni i już się nigdy nie powtórzy. Czuł, że w jego duszy ślad jakiś pozostał, znak, rysu, ot taka jaką piorun zostawia na korze drzewa, gdy draśnie je od szczytu do korzeni. Chodził po sali, jak żołnierz na warcie, drzwi pilnując z tą myślą, że jeszcze raz ją zobaczy. Zyzio spostrzegł ten niezwykły stan kolegi.

— Słuchaj — rzekł poufale, biorąc go za ramię — zbaławaniałeś zupełnie... chodźmy już... głodny jestem...

— Poczekaj... ona jeszcze wyjdzie...

— Kto? co ci Bóg dał?!

— Andzia...

— Zwaryowałeś... puść ją kantem i kwita! Solski z herbatą...

Drzwi otworzyły się i Janek jak z procy rzucił się ku nim.

— Idzie... — zdołał tylko szepnąć.

Na progu ukazała się Andzia, ale w masce. Janek podał jej ramię.

— Odprowadzę cię do powozu... — rzekł.

— Dziękuję...

Schodzili powoli ze schodów, nic nie mówiąc do siebie, ale kroki ich i ruchy zgadzały się zupełnie. Widocznie pragnęli bodaj czas schodzenia przedłużyć.

Zeszli nareszcie...

Nie pozwolisz mi poznać ciebie?

— Nie, nigdy! Chcę zostać w twojem wspomnieniu Andzią, ażebyś zatrzymał te wrażenia jakie odebrałeś, abyś się łudził...

Janek przerwał niecierpliwie:

— Ach, ciągle mówisz o złudzeniach... o złudzeniach!

— Wolę je niż... rozczarowania.

Zajechała kareta. Janek przyprowadził Andzię do drzwiczek i na pożegnanie w rękę pocałował. Nie broniła się. przeciwnie, uścisnęła jego rękę gorąco i serdecznie. Już jedną nogą na stopniu stanęła... on pomagał jej wsiadać... odwróciła się jeszcze raz ku niemu i rzekła:

— Dziękuję...

Pochyliła się i ciszej dodała:

— Kochaliśmy się przez chwilę bezwiednie.

Rozległ się trzask drzwiczek i równocześnie konie ruszyły.

Janek stał przez chwilkę nieruchomy. Smutek i żal go ogarnęły jak gdyby tracił coś bardzo drogiego dla siebie, a równocześnie mignęła mu myśl, jak błyskawica: skończyło się.

W tej chwili uczuł mocne szarpnięcie za ramię.

— Chodź, waryacie, bo cię jeszcze kto dyszlem potrąci!

Janek wrócił trochę do równowagi i — poszli. Rozmowa, świeże powietrze, chłód nocy uspokoiły jego nerwy. Szli, rozmawiając. Minęli Wierzbową, przecięli w poprzek Królewską i naprzeciwko pałacu Kronenberga na Mazo

— dla tego też i przyjaciele pokoju nie dają za wygraną i szukają środków dla rozszerzenia swej bądź co bądź wielce humanitarnej propagandy.

W tym celu sztockholmski związek pokoju ogłosił konkurs na rozprawę, rozstrzygającą pytanie: „Jakim jest najwłaściwszy środek dla wywołania silnego międzynarodowego prądu przeciw panującemu militaryzmowi?“

Na pytanie to zebrano 112 odpowiedzi, najliczniejsze napłynęły z Ameryki (24), zresztą zabrali głos w tej kwestyi przedstawiciele różnych narodowości i różnych sfer społecznych. Jakkolwiek pytanie dotyczyło, jak widzimy, wyłącznie prawie praktycznej strony pokojowej akcyi, jednakże z konieczności poruszyć musiano wiele takich punktów, które na całą sprawę światło rzucają,

Najlepszą rozprawę nadesłał Richard Reuter z Naumburga nad Saalą, ponieważ jednak i współzawodnicy jego dość trafne czynili uwagi — sąd konkursowy uznał za słuszne wydrukować obok całkowitej pracy nagrodzonej, ciekawe wyjątki z innych odpowiedzi.

Przedmowa zawiera treściwą i trafną krytykę obecnego położenia. Ofiary ponoszone na uzbrojenie chybiają celu, gdyż ściągają na kraj w innej postaci te same klęski, od których uchronić go mają.

Pokój zbrojny jest chroniczną formą tego samego cierpienia, które w wojnie objawia się w sposób gwałtowny.

Wojna niszczy plony pracy produkcyjnej narodu, pokój zbrojny pozbawia go tychże samych plonów, uniemożliwiając ich wytworzenie. Rozkłada on tylko na cokolwiek dłuższy przeciąg czasu też same straty ekonomiczne, z tą jednak różnicą, że niejedna z dawniejszych wojen kosztowała kraj nie więcej, niż dziś całoroczne utrzymanie armii, Kampania 1859 roku np. nie pociągnęła dla Austryi większych ofiar, niż obecne jej roczne wydatki na cele wojskowe.

Toż samo wykazać można co do ubytku ludności. Wedle obliczeń autora, gdyby ludzi dziś stojących pod bronią zatrudnić produkcyjną pracą, mogliby oni wytworzyć ilość środków do życia wystarczającą dla utrzymania liczby ludzi w trójnasób przewyższającej liczbę wojska w każdem państwie. Po za tem służba wojskowa wywołuje dziś znaczną emigracyą, a dalej przyczynia się do zwiększenia śmiertelności w kraju, pogarszając jego ekonomiczne warunki, wiadomo bowiem, że śmiertelność stoi zawsze w prostym stosunku do nędzy.

Ponieważ zaś przy obecnym rozwoju międzynarodowych stosunków ekonomicznych klęski jednego kraju dotykają w pewnej mierze i wszystkie inne, każdy z nich ponosi straty nie tylko z własnych, lecz i z cudzych wynikające uzbrojeń.

Te wszystkie ofiary nie okupują celu, gdyż bynajmniej nie zabezpieczają niezależności państwa na zewnątrz. Słabsze organizmy państwowe podlegają zupełnie w tym samym stopniu przewadze silniejszych, co dawniej, przy mniejszych wydatkach na armią, jakkolwiek bowiem mogą dowolnie podwyższać jej bezwzględną siłę i wielkość, nie mogą zmieniać jej względnej wielkości w stosunku do armii państw sąsiednich. Żaden kraj zresztą nie jest tak silnym i bogatym, aby w danym razie nie mógł się okazać stroną słabszą. Ani małe państewka nie są bezpieczne przed napaścią wielkich potęg, ani też owe pierwszorzędne potęgi nie mogą zdobyć niezawodnych i niemylnych środków przeciw koalicyi sąsiadów. Słowem mimo uzbrojeń nikt żadnej gwarancyi na przyszłość nie posiada. To, jak widzimy, chybione dążenie do zabezpieczenia politycznej niezawisłości, okupuje się osobistą wolnością obywateli. W dawnych czasach po wojnach strona zwycięzka zagarniała kraj obcy i obracała poddanych jego w niewolników, dziś rząd własnych poddanych pozbawia swobody, odrywając ich od pracy i ognisk domowych, a zaciągając pod cesarskie lub królewski sztandary.

Dawniej zwycięzcy bogacili się rabunkiem w kraju podbitym, później nakładali na niego kontrybucye - dziś rządy, obciążając naród podatkami, pozbawiają go owoców jego pracy. Nie możemy się nawet pocieszać myślą, że gdy w pierwszym wypadku ulegaliśmy przemocy najezdnika, w drugim dobrowolnie przyjmujemy na siebie ciężary. Różnica jest tylko pozorną; wystarcza, aby jedno państwo podwyższyło stopę siły zbrojnej, a przez to samo zmusza wszystkie inne do wstąpienia w jego ślady, pośrednio więc kontrybucye na obcych poddanych nakłada.

Wniosek ostateczny taki, że w miarę, jak chronimy się przed zewnętrzną niewolą i uciskiem wzmagamy ucisk i niewolę na wewnątrz.

Propaganda pokojowa chcąca oddziaływać na społeczeństwo, powinna zdaniem Reutera uwzględniać dwie główne jego kategorye. Do pierwszej zalicza stronnictwa konserwatywne i rządy, zwłaszcza zaś te, które zewnętrznemi formami konstytucyjnemi maskują autokratyczne dążności. Jeżeli ta grupa społeczna zapewnia o swem pragnieniu pokoju — śmiało jej uwierzyć można, jeźli jednak ubolewa nad ciężarem militaryzmu, podać musimy jej szczerość w podejrzenie, ponieważ nigdy nie uczyniła jeszcze żadnego kroku celem zmniejszenia złego. Przyczyny tu zresztą są dość jasne, potrzeba utrzymania znacznych sił odpornych na przypadek obcego najazdu stanowi w znacznej części jej racyą bytu i podstawę jej przewagi na wewnątrz.

Drugą kategoryą stanowią masy narodu, szczerze sympatyzujące z pokojowemi dążnościami Ligi, lecz zachowujące się wobec nich biernie w braku wiary w ich zwycięztwo. Na tę właśnie kategoryę głównie oddziaływać należy, — z biernej mamy utworzyć siłę działającą i czynną a przez nią dopiero wywrzeć nacisk na rządy i konserwatywne żywioły, stanowiące tychże rządów podporę.

Przemawiając do tłumów, należy jednak zdaniem autora strzedz się wszelkiej przesady. Przyjaciele pokoju w zapale swoim niejednokrotnie w ten błąd popadają i przedstawiają przyszły stan rzeczy w tak różowych barwach, tak rajskie obrazy ustroju społecznego malują, że przez to samo budzą w słuchaczach i czytelnikach wątpliwości. Jeden fakt, choćby i najdonioślejszego znaczenia, nie zmienia natury ludzkiej, która wciąż się doskonaląc, nigdy przecież jednym zamachem przeistoczyć się nie da. Należy zatem dla przekonania sceptyków przedewszystkiem kłaść nacisk na możliwe reformy i konieczne, niewątpliwe korzyści. Wszelkie odezwy, demonstracye, zbiorowe wystąpienia są niewystarczającym środkiem agitacyi. Budzić one mogą chwilowy entuzyazm, lecz trwałego wpływu nie wywierają. Odpowiedzieć celowi może tylko akcya wytrwała, nieustanna, ciągła i niezrażająca się niczem. Dla tego radzi Reuter uczynić kwestye stopniowego rozbrojenia stałym przedmiotem obrad parlamentarnych. Sprawa ta poruszana w ciałach prawodawczych znalezćby musiała donośne echo w organach prasy wszelkich narodowości i wszelkich odcieni, podczas gdy roztrząsana wyłącznie przez partyjne organa, dochodziłaby do wiadomości tych tylko, którzy i tak zapatrywania Ligi pokojowej podzielają.

Międzynarodowa komisya powinnaby zdaniem Reutera zredagować memoryał zawierający zestawienie postulatów przyjaciół pokoju oraz wskazówki do przeprowadzenia ich w praktyce. Memoryał ten, zatwierdzony przez kongres pokoju, opatrzony podpisami wybitniejszych osobistości, przetłómaczony na wszystkie języki, powinien być rozesłany do reprezentantów stronnictwa w każdym kraju i użytym jako program

---

wiecką weszli. U Wróbla świeciło się jeszcze.

— Zajdźno kup serdelków... chleb u Solskiego będzie z pewnością... — odezwał się Zyzio.

— Nie mam pieniędzy.

— Jakto nie masz? Przecież zostało dwadzieścia pięć groszy.

Janek zmięszał się.

— No, tak... ale... kupiłem bukiecik dla Andzi...

— A niechże cię pioruny siarczyste! Jabym teraz właśnie niedźwiedzia zjadł ze skórą!

— I ja także...

O, poeto! poeto!

Na szczęście u Solskiego zastali herbatę i chleb.

* * *

Nie dużo upłynęło wody w Wiśle od tej maskarady, bo płynęła tylko do wiosny.

Janek daremnie sobie suszył głowę nad odgadywaniem kim była owa tajemnicza towarzyszka rozmowy na maskaradzie. Wiedział o niej tyle tylko co i dawniej: że się nazywa Andzia. Bukiecik niezapominajek na pamiątkę poznania się z nią starannie chował. Pisał do niej strzeliste sonety, jak do Laury, rozpytywał kolegów, którzy wszystkie najpiękniejsze Andzie w całej Warszawie pokazywali mu, ale tamtej odszukać nie mógł, a byłby ją w piekle poznał po oczach, po głosie, po całej pwie.

Wreszcie zacierać się poczęła w pamięci. Bukiecik otrzymany zwiędł dawno i zasuszony między kartami statutu litewskiego, drzemał w oślą skórę ściśnięty, marząc o przeszłości. Przyszła wiosna, a z wiosną odżyło niedawne wspomnienie. Chodził tedy do Łazienek, do Pomarańczarni, do Królikarni, zapuszczał się w głąb cienistych, samotnych alei w tej nadziei, że Andzię spotka. Jakże się cieszył na zamą myśl o tem, że ją spotkać może! Bo że ją pozna, tego był pewny!

Nie spotkał jednak...

W końcu maja na dziedzińcu uniwersyteckim ujrzał pędzącego ku sobie Zyzia.

— Szukałem ciebie właśnie! — zawołał kolega.

— Cóż takiego?

— Awantury arabskie! Czytałeś dzisiaj notatkę o samobójstwie, w której były tylko pierwsze litery wymienione: A... N...

— Ale cóż takiego u licha? — krzyknął zniecierpliwiony Janek.

— Przypominasz sobie tę twoją Andzię z maskarady? Pokazało się teraz dopiero, że była rozpaczliwie brzydką...

Janek uczuł przy tych słowach drgnięcie serca.

— No, i cóż się stało?

— Nie żyje!

Okropnie go zabolała ta wiadomość. Zbladł, zesztywniał i zaciekawione spojrzenie utkwił w kolegę, jak gdyby na dalsze wyjaśnienie czekał.

— Czy być może?

— Najświętsza prawda... ale wiesz w jakich dramatycznych okolicznościach...

Jankowi stanęła w myśli śliczna postać Andzi, która niezatarte wspomnienie zostawiła w jego duszy. Słyszał jej głos srebrny, słodki, łagodny; widział jej spojrzenie pełne rozumu i głębi; przed oczyma jego przesuwała się alabastrowa białość i piękność form jej ręki; czuł ciepło i gibkość jej kibici, kiedy się pochylała ku niemu swobodnie jak dziecko, — i nie umiał tego pogodzić ze słowami kolegi: „rozpaczliwie brzydka“...

Czy to prawda? Czy to być może?

Zapanował nad sobą całą siłą woli i spytał spokojnie:

— I cóż to za awantura?...

— Wyobraź sobie, była to córka bardzo bogatych rodziców, wykształcona, rozumna, ale fatalnie brzydka. Posiadała zupełnie małpią twarz, zasianą brodawkami czarnemi, z których ciągle wyrastały włosy, wargi miała mięsiste i wydęte jak Hotentotka...

Janek słuchał tego z gorączkowym niepokojem.

— I cóż? i cóż? — naglił.

— Otóż dziś znaleziono ją w łóżku umarłą... otruła się. Na stoliku leżał notesik otwarty z głupią sentencyą: Miłość jest szczęściem — i rozpaczającą... Uważasz? co za nonsens? Po prostu nie giczność kobieca. Prawda?

— I cóż dalej?

— Obrk bukiecik stokrotek...

ich działalności z pewnemi naturalnie modyfikacyami, odpowiedniemi do warunków lokalnych. Dalej przechodzi autor kolejno stanowisko różnych narodów względnie do kwestyi uzbrojeń, stwierdza fakt, że wszędzie uchwaliły w ostatnich czasach parlamenty znaczne pozycye na cele militarne z tą różnicą jedynie, że w niektórych krajach opozycya była słabszą, w innych silniejszą — wszędzie jednak niedostateczną.

Zdaniem jego żadna opozycya parlamentarna w odosobnieniu działając, wzrostu militaryzmu powstrzymać nie może, każda bezsilną jest wobec powoływania się rządów na grożące krajowi niebezpieczeństwo. Tylko połączona akcya wszystkich ludów wpłynąć może na zbawienną reformę, działając równocześnie na wszystkie rządy.

Przyczynę złego upatruje autor we Francyi, tu już naturalnie porzuca stanowisko objektywne, a sąd jego zaćmiewają narodowe niemieckie uczucia. Jeżeli bowiem zupełną przyznać mu możemy racyę, gdy twierdzi, że nieustanne zbrojenie się datuje od ostatniej francuzko-pruskiej wojny, że punkt wyjścia dla niego stanowi antagonizm dwóch wówczas bojujących stron, to może jednak słusznie byłoby winę złożyć na Niemcy, które dokonawszy zjednoczenia swego kosztem sąsiadów, wytworzyły w Europie ferment i nieufność wzajemną, która dziś skłania wszystkie rządy do podtrzymywania kosztem olbrzymich ofiar sztucznie sklejonego pokoju.

Z drugiej strony twierdzi, że Francyi najtrudniej byłoby wystąpić z propozycyą rozbrojenia, gdyż idea odwetu zapuściła tam głębokie w narodzie korzenie; może patryoci uczuliby się dotknięci w swej narodowej godności, gdyby rząd zbyt łatwo zrzekł się praw swych do utraconych prowincyi i nadziei rehabilititacyi francuzkiego oręża. W tym względzie jednak myli się podobno, jeżeli sądzić wolno z przytoczonej w temże dziełku odpowiedzi francuzkiego publicysty, który utrzymuje, iż pragnienie pokoju jest we Francyi bardzo powszechnem i bardzo silnem, a jedynie obawa niemieckiego najazdu skłania ludność do uchwalania militarnych wydatków.

Wiele łatwiejsze, zdaniem Reutera, byłoby położenie rządu niemieckiego, który też zupełnie śmiało z propozycyą stopniowego rozbrojenia wystąpićby mógł, gdyby zechciał. Jednakże o jego dobrej woli wątpić, — i nie bez racyi. „Rząd niemiecki — mówi on — reprezentuje i wciela w wyższym stopniu niż każdy inny zasadę militaryzmu, tj. zasadę, iż wojsko nietylko ku obronie przed zewnętrznym nieprzyjacielem służy, lecz ma na celu również podtrzymanie w kraju pewnego politycznego systemu i pewnych politycznych dążeń, że zatem militaryzm, gdyby nawet był zupełnie zbytecznym ze względu na bezpieczeństwo kraju — sam przez się w wysokim stopniu na poparcie zasługuje.“ — „Ma on na celu — mówi dalej — utrzymanie przeciwwagi do konstytucyjnych swobód i wzmacnianie atrybucyi władzy w wewnętrznych stosunkach ponad prawem dozwolone granice. — Ztąd wynika niechęć panujących do wszelkiej pokojowej propagandy.

Mimo jednak znacznej przewagi niemieckiego rządu, wobec silnej międzynarodowej akcyi pokojowej uledzby on musiał — i uczynić pod przymusem krok, który dobrowolnie podjęty okryłby go sławą. Największą zaporę dla sprawy rozbrojenia widzi autor w Rosyi. Wynika to w prostej linii z panującej tam autokratycznej formy rządu, która jedynie dzięki militaryzmowi utrzymywać się może. Zresztą zapora ta nie jest niezłomną, gdyż wobec nacisku koalicyi europejskiej i Rosya ustąpićby musiała.

Pominiemy uwagi zawarte w wyjątkach z innych odpowiedzi, zważywszy, że praca Reutera najbardziej wyczerpująco kwestyą przedstawia. Ciekawi czytelnicy znajdą je w omawianem dziełku, lub w jego polskim przekładzie, który prawdopodobnie wkrótce się pojawi. Sądzimy, iż obudzić ono powinno szerokie zainteresowanie, gdyż nacisk obecny militaryzmu oddziaływa potężnie na wszystkie stosunki, dotyka osobiście każdego z członków społeczeństwa i nikomu obojętnym być nie może.

Zauważymy tylko ze swej strony, że jak kolwiek działalność przyjaciół pokoju nie jest pozbawioną racyi bytu, jakkolwiek urzeczywistnienie ich pragnień nie jest bynajmniej niemożliwością, jednakże stoją oni zaledwie u wstępu drogi do celu wiodącej, a droga to trudna i daleka. — Tak trudna i tak daleka zresztą, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zanim staną u kresu, militaryzm dosięgnie punktu kulminacyjnego swego rozwoju i doprowadzi do przewidywanego przesilenia. Humanitarne prądy międzynarodowe o wiele słabiej, o wiele powolniej podkopują jego potęgę i znaczenie niż on sam, dążąc ze wzrastającym wciąż rozpędem, do granic niemożliwości i absurdu, gniotąc i miażdżąc po drodze wszystkie cenne cywilizacyjne zdobycze, na które ludzkość przez wieki pracowała, i których wydrzeć sobie nie da. — On to właśnie jest owym żywiołem przewrotowym, który podtrzymuje stały ferment w życiu europejskich ludów i gromadzi w niesłychanej ilości materyały palne do przyszłego wybuchu. Gdyby wybuch ów uprzedzić można przez rozumne i stopniowe reformy, niewątpliwie ludzkość zyskałaby na tem i uniknęła wielu klęsk i strat niepowetowanych.

Historya jednak uczy nas, że działalność reformatorów najrozumniejszych zawsze najsilniejszy napotyka opór, a idee ich zwyciężają dopiero wtedy, gdy złe dojdzie do najwyższego stopnia i stanie się widocznem nawet dla zupełnych krótkowidzów umysłowych, z których w przeważnej większości ogół się składa. Dla tego też nie przez reformy pokojowe, lecz przez rewolucye i przesilenia zdobywała ludzkośc najważniejsze na swej drodze posterunki, a historyą jej rządziły nie wysiłki i ofiary bohaterów idei, lecz nieuchronne prawa wedle których, co się przeżyło, upaść musi choćby ku swej obronie dzierżyło krocie armat i miliony bagnetów.

Iza Moszczeńska.

— Co ty mówisz?!

Tak jest... opowiadał mi to naoczny świadek...

— Biedne dziecko! — zawołał Janek.

— Poczekaj... jeszcze nie wszystko... napisała do rodziców sentymentalny list... „Drodzy moi! Najdrożsi! Przebaczcie mi... nie mogłam dłużej się męczyć, nie mogłam. Pokazywać ludziom codziennie twarz satyra, patrzyć na uśmiechy pełne obrzydzenia, słuchać najpospolitszych dowcipów i żartów, i mieć duszę inną... Pan Bóg mię stworzył na nieszczęście wasze i moje. Wiem, że źle robię. Każdy kto mnie zrozumie, nie usprawiedliwi mię, ale przebaczy. I wy mi, moi drodzy, przebaczcie... Mogłam się zdobyć na odwagę odrazu wszystkie smutki zakończyć, ale nie miałam odwagi chodzić codziennie z niemi, zamykać je tak głęboko, ażeby nikt nie domyślał się, co mnie boli i dla czego — nie mogłam...“

Gdy skończył mówić, Jankowi serce ścisnęło się niewypowiedzialnym smutkiem i żalem, jakby kogoś bardzo drogiego stracił. Domyślał się, że tą Andzią, która z tęsknoty za szczęściem, uciekającem od niej jak motyl ciągle płoszony, odebrała sobie życie, była istotnie ta sama Andzia, z którą kilka godzin na balu maskowym spędził; zrozumiał to czego wówczas zrozumieć nie mógł, i żal mu się zrobiło tej pięknej duszy, jakby za karę zamkniętej we wstrętnem więzieniu. A jednak do tego więzienia on dotarł i rzucił jej przez kraty kilka słów życzliwych, kilka stokrotek...

Szli milcząc. Janek nie spowiadał się przed kolegą ze swoich domysłów, wrażeń, uczuć, chociaż czuł, że i jego osoba niepoślednią rolę grała w tym dramacie nieznanej rodziny.

Milczenie przerwał Zyzio.

— I pomyśleć sobie, że ten potworek, który był pośmiewiskiem ulicy, odebrał sobie życie z miłości! Czyż ją kto mógł kochać?... Ale może ona kochała.

Janek odwrócił się nagłym ruchem do kolegi rękę wyciągnął i rzekł:

— Do widzenia...

— Cóż się tobie tak spieszy? Chcesz, pójdziemy teraz zobaczyć jej portret, wystawiony w oknie redakcyi...

— Nie, dziękuję ci... nie pójdę.

— Ależ to ciekawa rzecz... mówią, że okropnie brzydka.

— Ach, daj mi pokój! Nie dla wszystkich to ciekawe.

— Zaczynasz patrzyć z wyższego stanowiska — zauważył zjadliwie Zyzio.

Janek ani słówka nie odpowiedział, skinął tylko głową i poszedł; dopiero później wyrwał mu się przez zaciśnięte zęby wyraz:

— Głupiec!... ty sobie życia nie odbierzesz, nie!

Franciszek Rawita.



Witold Pruszkowski.

(Ciąg dalszy.)

Tenże sam pisorym poświęcił „braciom lakiernikom i farbierzom“ (tak malarzy zwali młodzi członkowie cechu literackiego) inny poemat, z którego tylko początek uniknął zagłady. Pięć strofek sześciowierszowych nie zajmie na tyle miejsca, aby ich nie przytoczyć:

Gdzie się te dawne podziały czasy
Gdy Kraków sławą brzmiał na wsze strony,
Kiedy krakowskie pyszne kiełbasy
O prym z włoskiemi szły salcesony,
Kiedy słynęły krakowskie krupki,
Fama krakowskiej rosła przekupki!

Wtedy to, wtedy, wśród cechów wiela,
Wzniósł swoje czoło i cech malarski,
A gdzie zabrzmiała tylko kapela,
Kędy się ozwał krakowiak dziarski,
Tam szewc i rzeźnik, młynarz z tokarzem
Razem tańczyli z bratem malarzem.

Bo kunszt malarski nad inne sławny,
Posiadał afekt wielki u braci,
I miał przywilej od wieków dawny,
Że choć nie słynął z dziarskich postaci,
Ale w rozumie to wszystkim sprostał.
Ba! nawet szewc się przed nim nie ostał.

Z ŻYCIA ARTYSTY MALARZA.

(*Według pamiętnika Jakóba Emila Schindlera*).

Było to w lecie 1892 roku. Każdemu wiadomo, iż wysoki protektor i mecenas sztuk pięknych, książę Regent bawarski, zwiedza codziennie wystawę w Glaspalaście. Pewnego jednak dnia wysoki ten gość pojawił się, prowadząc pod rękę człowieka, którego żywość oraz oryginalny sposób wyrażania się, już z oddali zwracały uwagę.

W sali oddziału austryackiego, przed całą seryą obrazów, człowiek ten zrobił ruch, jakby zamierzał uciekać i tylko obecność księcia Regenta skłonić go mogła, iż z wyraźną niechęcią zmuszony był im się przyglądać. A właśnie te oto obrazy artyści monachijscy uznawali za najlepsze z całego austryackiego oddziału...

Człowiekiem tym był właśnie Schindler, wzdrygający się pokazać księciu swe własne utwory.

W ten sposób zapoznaje czytelnika A. Spier — z artystą.

Schindler po długiej niemocy wybierał się właśnie na Sylt, w przejeździe zaś odwiedził ulubione sobie Monachium i odnowił znajomości. Zanim wyjechał w tę podróż — mówi

Więc króle, pany, możni biskupi,
Cech ten protekcyą twoją wspierali;
Bywało naraz niejeden kupi,
Nawet w Sukiennic ogromnej halli,
W pośród kapusty, jajec i rzepy,
Czterech malarzów dzierżało sklepy.

Nawet Jan Trzeci jednego chował
W zamku krakowskim przy swoim dworze,
I klucznikostwo mu konferował,
By przy obrazach odbywał stróże,
A gdyby który z nich się nadpsował
Dał reparacyę w tymże kolorze...

Dalej szła paralela między dawnymi malarzami, a dzisiejszymi, z której naturalnie ci ostatni srodze wyszli pokrzywdzeni. Charakterystyka, nie polecająca się bynajmniej doborem wyrazów (co zresztą nie leżało w interesie autora), była, rzecz prozta, żartem, dowodzącym jasno harmonii i stosunków ściślejszych pomiędzy lakiernikami i farbierzami, glicernistami (rzeźbiarzami), rymarzami (wierszorobami), i szmaciarzami (dziennikarzami). Zjawiali się czasem w ich gronie i muzycy: cymbaliści od fortepianów i baraniarze od skrzypiec. I dalipan, na te smutne czasy było w tem gronie dość wesoło!

Czem ongi dla literatów i artystów warszawskich były „górka“ w cukierni teatralnej, tem w Krakowie dla krakowskich dzieci muz wszelakich była przez czas pewien kawiarnia Dyktarskiego na ulicy Sławkowskiej, a później Rehmana w Krzysztoforach. Tak naprzód w pierwszej, jak później w drugiej o pewnych godzinach było tak tłumno, że miejsca znaleźć nie było można. Ale grono literacko-artystyczne zawsze miało swój kącik, w którym żywe prowadziło dysputy. Żart za żartem, anegdota za anegdotą, sypały się jak z rękawa, przerywane partyą szachów lub bilardu. Najstalszymi gośćmi z artystów bywali: Gadzio (Walery Gadomski), Stach (śp. Stanisław Lipiński), Fajtłapa (Benedyktowicz). Koniec (Koniuszko), Abramek (Abramowicz), Jacek (Malczewski), Biuszbander (po francuzku czytany Buchbinder), starzy profesorowie: Löffler i Szynalewski, a z młodszych jeszcze: Fałat, Piotrowski, Wyczołkowski i D. Abramowicz „wielki łowiec w Panu“ przeplatał rozmowę myśliwskiemi wyrażeniami i wybornie naśladował styl biblijny. Gadomski przy wrodzonym dowcipie miał na zawołanie pełną torbę anegdot. Koniuszko „z cicha pęk“ mało dysputował, ale jak czasem uciął, to śmiech się rozlegał po całej sali. Benedyktowicz w żartobliwej utarczce słownej każdemu dotrzymał placu i cytował wszystkich znanych i nieznanych poetów Szynalewski, trochę głuchy, mało się wtrącał do rozmowy, ale miał zajęcie, bo jako zapalonemu numizmatykowi przynoszono mu zawsze jaki stary pieniążek do pokazania; przypatrywał się przez lupę, aż odkrywał często, że jestto grosz wytarty, a nawet guzik spłaszczony i śmiano się z podejścia, ale poczciwy stary nie gniewał się i brał znów pod lupę, co mu przyniesiono.

Rej w tem gronie wodził zawsze Pruszkowski. Póki kozaka nie było, widocznie wszystkim czegoś brakowało. Toczyła się jakaś żywa dysputa, to nikt lepiej od niego ognia dolać nie umiał; jak trzeba było kpić, to kpił za dziesięciu; potrzeba było gdzieś z jakąś opozycyą wspólną wystąpić a zgody powszechnej na nią nie było, to dopóty dowodził, dopóki nie było ochoty już nie do jednej, ale do dziesięciu naraz opozycyi. Zawołany szachista, kiedy siadł do partyi, to tworzyła się zaraz cała galerya przypatrująca się walce o życie króla jegomości; nawet pan Michał (Bałucki), choć to szachista pierwszej wody, musiał wznosić sztuczne okopy i palisady, zachować wielką spójnię między walczącymi oddziałami i bezpieczne obmyśleć królowi schronienia, aby wytrzymać i odeprzeć silne, a całkiem niespodziewane, przeciwne wszelkim regułom natarcie kozackie. Nie dał się Pruszkowski i zaczepiającym go „rymarzom“; sam dosiadał pegaza i odpowiadał im z humorem, nie zbyt elegancko, ale we formie poprawnej. Miał przytem broń drugą. Od czasu do czasu przyniósł na małym kawałku papieru czyjąś karykaturę, wykonaną akwarelą; nie wiele się nad nią męczył, zapewne robota ta w ciągu kwadransu była wykończoną, ale „obraz i podobieństwo“ danego osobnika były mimo przesady tak świetne, że każdy skarykatyrowany sam śmiał się najserdeczniej i drżał tylko o to, aby karykatura, przechodząc z rąk do rąk nie ulotniła się wśród oglądających, bo na siódme przykazanie w tym wypadku mało zwracało się uwagi.

Tak samo jak u Dyktarskiego i Rehmana wodził rej Pruszkowski i na innych zebraniach. Czasem, kiedy była ochota ku temu, przenosiła się garstka artystów i przyjaciół do mieszkania Pruszkowskiego przy końcu ulicy Szewskiej, które zajmował z paru kolegami; w późniejszych czasach do Wyczołkowskiego, lub drzeworytnika Napiorkowskiego. Odbywał się na poczekaniu wieczorek artystyczny z kolacyjką o studenckiej ilości i jakości. Było coś przypominającego piwo i coś pokrewnego kiełbasie, znalazło się i trochę „wody życia“ i bułek pół kopy, czasem musiał wystarczyć tytoń i herbata. Chyba, że „flota“ komuś nadpłynęła, to ukazał się i ser i szynka się rumieniła i „deszczówka“ z butelek lała się do kieliszków. Na wety Benedyktowicz deklamował, nie pamiętam kto grał na skrzypcach, Mroczkowski udawał rozmaite zwierzęta, Buchbinder świetnie naśladował szlifierza i stolarza, a wszyscy wreszcie darli się niemiłosiernie, co urzędową nazwę śpiewu choralnego nosiło. W przerwach szły anegdoty, (żadnej nie wolno było powtórzyć pod karą „fundy“), wesołe opowiadania i zażarte dyskusye. Kiedy jedni sprzeczali się i dowodzili nieomylności swych zapatrywań, drudzy na poczekaniu rysowali portrety karykaturalne. Najświetniejsze były Pruszkowskiego. Pamiętam n. p. portret Buchbindera w trzech minutach ołówkiem narysowany. Znany ten dziś i cieszący się uznaniem malarz monachijski, miał prawie zawsze minę uśmiechniętą, zadowoloną. Otóż Pruszkowski, przy fotograficznem prawie podobieństwie twarzy, zadowolenie owo wzniósł do takiej potęgi, że chyba jak świat światem, nikt więcej zadowolonego człowieka nie narysował. W karykaturach jego był ten rys znamienny talentu, że zachowując ścisłość proporcyi, chwycił jakąś drobną, ledwie dającą się dostrzegać odrobinę komizmu i położywszy na nią nacisk główny, zamierzony efekt wywoływał. Pamiętam parę jego portretów olejnych, dla przyjaciół robionych, przy których kończeniu „Chochlik“ humorystyczny do figlów go namawiał. Jednemu z tych przyjaciół losy dały nos nazbyt czerwony; na portrecie, wykonanym przez Pruszkowskiego koniec nosa tak jarzeje, tak bucha płomieniem, że chciałoby się od niego zapalić cygaro; środkiem ku temu była nietylko farba czerwona, ale umyślnie zastosowane oświetlenie. Drugi z tych przyjaciół miał włosy nieco kręcące się i tworzące jakoby loczki nad czołem; warto było zobaczyć jaki efekt komiczny z tych loczków wydobył Pruszkowski. A oba te portrety i były podobne i miały wartość artystyczną.

Na tych dyskusyach i zebraniach nietylko bawiono się i dowcipkowano. Kiedy Siemiradzki ofiarował swe „Pochodnie“ na zawiązek Galeryi obrazów polskich, a kilku artystów poszło zaraz za jego przykładem (Pruszkowski dał swoje świetne „Rusałki“) postarano się z pewnej strony rzecz spaczyć, a raczej zamienić galeryę na muzeum. I rzeczywiście dokonano tego. Czy ta przemiana była złą czy dobrą, o to nie idzie: owszem, dzisiejsze muzeum narodowe rozmiarami swemi wykazuje, że myśl jego założenia była na czasie i pożytek przyniosła. Ale z początku mała była wiara, aby ten pomysł się udał, zwłaszcza, iż projektodawcy statutu muzealnego chcieli widzieć w muzeum „odlewy z pomników i kopie z obrazów“, co było już całkiem przeciwne temu, czego pragnął Siemiradzki i czego pragnęli ci, co go w ofiarności naśladowali. Im szło przedewszystkiem o to, aby najznakomitsze utwory polskiej sztuki współczesnej mogły mieć swoją stałą przystań, aby kraj, idąc ręka w rękę

Spier — rozmawiał ze mną wiele: o swych projektach, o malarstwie, o przyszłości, o swych wielkich moralnych cierpieniach i walkach, o rozczarowaniach, rozwoju, najczęściej jednak o owym moście, przez który prawie każdy artysta przechodzić musi, o owym, jak go nazywał, „moście westchnień“, który się zwie inaczej „muzeum“. Uskarżał się, że niema wrodzonego daru do „interesów“, do „reklamy“ i skutkiem tego ogromna jego działalność artystyczna tak małe daje mu „realne“ rezultaty, a przecież on dąży do „niezależności materyalnej“, do tego tak potężnego w życiu artysty czynnika, i t. p.

Dnia 30 lipca udał się Schindler na Sylt, a w dwie doby potem nadszedł do prezydenta Künstlergenossenschaftu telegram lakoniczny: „Schindler zmarł nagle“. I zawieszono już złoty medal, przez „jury“ przyznany, na spowitych krepą i laurem ramach wielkiego obrazu zmarłego artysty, zatytułowanego: „Pax“.

* *

Teraz spojrzyjmy na kilka stronnic pamiętnika z r. 1879 — 1881, tego nieposplitego artysty — a przekonamy się, jak „słodkie“ musiało być życie człowieka, któremu serce bić przestało właśnie w tej chwili gdy mu przyznawano „medal“, t. j. urzędowe uznanie — nadzieję „cen lepszych“!

14 marca 1879 r. Wczoraj przyniesiono płótno pod „Burzę“, niema go czem zapłacić. Żądają 40 guldenów. Co się tym ludziom marzy... Ach! gdybym to ja mógł mieć 40 guldenów...

15 marca. Nieład w pracowni, piece dymią, usposobienie smutne, ani grosza!

17 marca. Nie możemy opłacić sługi, jednak mam nadzieję... obym tylko nie zachorował.

18 marca. Stara bieda, pracuję jednak dalej.

20 marca. Wieczorem wypowiedziano mi mieszkanie. A zatem wynosić się muszę. Pozostało nam 2 guldeny na czysto. Zawsze przecież lepiej idzie. Anna, żona moja, robiąc sprawunki, zgubiła resztę z tych dwóch guldenów. To nie „pech“, to prawdziwe nieszczęście! Na dobitkę nachodzą mnie ogromnie; drżę, gdy kto dzwoni. Jutro znowu nic, jeśli B. nic nie da... Anna nieźle się trzyma, ona doprawdy godna lepszego losu! Nieszczęśliwy — mówi — nie myśl, nie zastanawiaj się! Nie myśleć! Trzeba iść między ludzi, chociaż się nimi tak gardzi. O, tylko odrobinę środków do życia, żebym nikogo niepotrzebował widzieć i z nikim rozmawiać, a wtedy napiszę dzieło: „Człowiek odbicie Boga, tego Boga, co świat stworzył“...

21 marca. Tego Boga, od którego miłość pochodzi. Jak ja o tem mógłem zapomnieć? Ta miłość, która z życiem jedna. Jestem zdenerwowany. Wciąż zdaje mi się, że ktoś dzwoni, wreszcie naprawdę dzwonią. Słyszę głos żony: „proszę przyjść jutro, dziś doprawdy niemożna“. Ach, to był żebrak, to nie wierzyciel! A przecież ja nikogo zarwać nie chcę. Tylko straszne ostateczności naglą mnie, mogę się gorszym wydawać, niż jestem. Nie mam usposobienia do pracy, usposobienia zniewolić nie można. Ach! ja tak pragnę wsi, słońca, powietrza...

12 kwietnia. Wczoraj byłem w Künstlerhausie. Ze środków państwowych tylko drobne zapomogi. Stara skarga! Radzili mi, abym był „rozumny“. O, wy „rozumni“, wy nie czujecie, ile to kosztuje, wyzyskiwać czyjąś nikczemność. Cicho! Sumiennie popłacić długi! Nie być Łazarzem! Zostać profesorem i radcą dworu. Mój pamiętnik, to dla mnie i żony; świat musi mieć moją rękę!

13 kwietnia. Straszna noc. Śniłem, że jestem na scenie, chcę a nie mogę śpiewać. Nareszcie sprzedał Werner przy pomocy Clemensa obrazy za 1,000 guldenów. Tysiąc guldenów!

15 kwietnia. Oczy bez łez, zimne. Miałem mowę w Künstlerhausie, jako „porządny człowiek“ tym razem. Kochana, biedna żono, ty nie powinnaś, nie możesz iść żebrać. A ja tak przygnębiony. O, bodajbym był pobożny. Człowiek to taki nędzarz, iż doprawdy pomoc nadziemska może mu się przydać, aby w tej nędzy swojej nie utonął. Błogosławieni wierzący. Ja

z ofiarnością artystów, znalazł zasoby pieniężne, za które corocznie zakupywanoby najlepsze obrazy polskie, rzadko w kraju mogące znaleźć nabywców. Nie ulega wątpliwości, że to podniosłoby znaczenie naszej sztuki i wpłynęłoby na jej rozkwit. Wielu dobrych malarzy rozprasza swój talent na malowaniu rzeczy drobniejszych, a więc łatwiejszych do pozbycia. Każdy pragnąłby stworzyć rzecz monumentalniejszą, ale to wymaga dłuższego czasu, a tu żyć potrzeba. Odejmie sobie wreszcie który od ust, namaluje taki „majstersztyk", najczęściej zadłuży się na modele, płótna, farby, ramy — i czeka potem naprożno nabywcy, albo wreszcie sprzedaje obraz „kunsthändlerowi". Galerya taka, jak ją proponowano, dawałaby nadzieję, że obraz się nie zmarnuje, że nie pójdzie za granicę, że powiększy zbiór, świadczący o rzeczywistym rozwoju sztuki w Polsce. Spaczenie tej myśli głęboko zabolało artystów. Były więc zebrania, by mu przeszkodzić, pisano petycye do rady miejskiej i odezwy do dzienników, gorąco broniono sprawy. Pruszkowski tej akcyi przewodził, a że nie wydała pomyślnych rezultatów, to wina nie jego, lecz silniejszych od niego okoliczności.

Tak w tej sprawie, jak i we wielu innych, Pruszkowski był prowodyrem młodzieży artystycznej. Powstało wówczas „Koło artystyczno-literackie", które według programu zakładało sobie dość szerokie cele i zadania. Długo byłoby opowiadać, jak instytucya ta jeszcze przed zawiązaniem była już prawie rozwiązaną, jak tylko dzięki energii Pruszkowskiego i jeszcze jednego z członków, udało się skupić razem literatów i artystów. Kiedy nareszcie instytucyę założono, było w niej sporo życia i dość projektów, a co za tem idzie, sporów i walk ilość dostateczna. Pruszkowski na czele swej małej armii, zawsze bronił dobrej sprawy, energią i jawnem wypowiedzeniem swych zapatrywań pobudzał do rozpaczy przeciwników.

A trzeba się było z nim rachować, bo miał już imię wyrobione. Kilkanaście jego obrazów i portretów, z których każdy był „niech go djabli" dawały prawo stania na czele artystycznej drużyny i przemawiania w jej imieniu.

Największe wrażenie z jego obrazów uczynił „Anhelli".

Artysta przeniósł na płótno te słowa poematu Słowackiego: „W ciemności, która była potem, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur... Eloe siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach."

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O Asnyku i Sienkiewiczu.

Pierwszy na rok bieżący numer, wychodzącej w Genewie „Semaine littéraire" w większej połowie poświęciła redakcya nam i literaturze naszej. Asumpt do owego skierownnia uwagi w naszą stronę dała wydana świeżo w Paryżu u Laisney'a monografia Krakowa, pióra Kazimierza Stryjeńskiego, znanego we Francyi wydawcy pośmiertnych dzieł Stendhala, a obdarzonego przez Bourget'a, wielkiego kowala epitetów, przydomkiem: l'aimable Stryjeński.

Monografia ta, wspomniana niedawno temu w „Journal'u" genewskim, obecnie doczekała się wzmianki w „Tygodniku literackim", wzmianki, skreślonej przez Ernesta Tissot'a, w rodzaju wstępu jeno do obszerniejszej nieco, lubo nie wyczerpującej oceny działalności literackiej Asnyka i Sienkiewicza.

Tissot, który przechodził także, jak powiadają francuzi, swój *quart d'heure* sławy, widocznie dla większego efektu wędruje ku właściwemu tematowi artykułu przez, jak ją zwie, „Bramę Florjanka", zawadzając po drodze i o Bohdana Zaleskiego i o pannę Poradowską i o Mickiewicza.

Ze Krakowa nie zna, przyznaje się sam do tego, że zaś na Asnyku nie bardzo się rozumie, świadczy już choćby tytuł poety *empire*, jakim go obdarza, podnosząc jednocześnie charakter utworów jego *moderne*. Widocznie zbija go z tropu zdrowy, jędrny liryzm pisarza naszego, wykoszlawionemu łamańcami bieżącej poezyi francuzkiej smakowi wydający się „sentymentalizmem *de guitare*" i „prostotą *suzannée*", a kwalifikujący się, zdaniem jego, „na kartki albumu", dobrze, że nie dodaje — babek naszych.

Na potwierdzenie opinii tych cytuje w wolnem tłómaczeniu prozą wiersz: „Jednego serca trzeba mi na ziemi"..., zaopatrując go w komentarz iście francuzki, iż winnaby go śpiewać „głosem wysokim bardzo i bardzo czystym, przy akompaniamencie oddalonych, a omdlewających akordów harfy, kobieta w turbanie, udrapowana po grecku" (!)

Słuszniej już oryginalności Asnyka dopatruje się Tissot w tem, iż, jak się wyraża, „zrywając z tradycyą, odważył się być sobą", a mniej słusznie unosi się nad balladami chłopskiemi", rzekomo układu naszego poety.

Liczne tłómaczenia prac Sienkiewicza, jak i z natury rzeczy dostępniejsza ich treść dla cudzoziemca, sprawiły, iż w Tissot'cie spotykamy wcale dokładnie zaznajomionego z zaletami pióra p. Henryka sprawozdawcę, a, co więcej, odczuwającego w całej pełni jego pióra zalety.

O „Bartku zwycięzcy" np., którego pobieżnie streszcza, następujący sąd wydaje: „Mówię to po zastanowieniu: z całej literatury, mającej związek z wojną z r. 1870, żaden utwór nie uderzył mnie tak do głębi, jak opowieść Sienkiewicza, nawet „Pogrom", którego cudowne ustępy giną w secinach frazesów, ustępów i stronnic zbytecznych. Nic podobnego w opowiadaniu powieściopisarza polskiego, którego zwięzłość ujarzmia uwagę czytelnika, podczas gdy szczery realizm szczegółów, piękność, heroizm anegdot, wprowadzają go w zachwyt. Przy zakończeniu powiastki tej drobnej przyłapałem się na wzruszeniu, jakiego doznawałem ongi, w wieku pięknych złudzeń et des baisers candides, czytając po nocach Mayne-Reid'a lub Gustawa Aymarda".

Uwagi swoje nad mistrzem powieści naszej kończy Tissot zdaniem: „Sienkiewicz posiada w najwyższym stopniu, co Bourget zwie: „le don du pathétique moral" — to jest poczucia duszy cudzej, zdolność przeżywania obcych sobie wzruszeń i udzielania ich uważnemu czytelnikowi".

Jako ilustrucyę do powyższego sądu, redakcya „Tygodnika Literackiego" pomieściła w tym samym numerze wcale udatne (a nie wiem już, które z rzędu) tłómaczenie „Latarnika".

Za upoważnieniem autora wykonała je pani Giuntini z domu Grzymalanka, pełne wykazując niem uzdolnienie do tego rodzaju pracy. To też pierwszy ten krok pociągnie za sobą, zdaje się i inne, bo, jak słyszałem, na zamówienie „Journalu" genewskiego tłomaczy pani Giuntini obecnie jednę z powieści Orzeszkowej.

Oby tylko wybór padał zawsze na utwory, warte zaprezentowania obcokrajowcom.

Szwajcar.

CONDORCET

um. 1794.

II.

Wspominaliśmy już o tem, że przez pewien szereg lat wydawał Condorcert „Bibljotekę działacza społecznego". W tem oto czasopiśmie ukazało się pięć jego znakomitych memorjałów

---

wierzę, iż w niedalekiej przyszłości serce me bić przestanie. Przyroda musi się przecież zabijać, aby się odradzać mogła. Dlaczego? Być może, że szydzą z tej ziemskiej kuli, na której ból się wiecznie odnawia. A przecież jakże były piękne chwile, gdym z Anną... obym tylko mógł jej szczęście zapewnić!

20 kwietnia. Tylko jeden obraz sprzedany, Wiedeń staje się okropnym dla mnie. Przecież ja bogactw nie pragnę, chcę tylko bronić się od niedostatku, od głodu! Czyż w tej masie kamieni niema człowieka, niema serca, któreby czuło? Przecież i ja robię coś dla społeczeństwa — daję mu potoki mojej krwi serdecznej.

21 kwietnia. Chcę na wieś, do natury — niepodobna, brak środków! Chcę nowy obraz zacząć, niema farb, niema płótna. Źle, bardzo źle idzie...

22 kwietnia. Kunsthaendler obiecał 30 guldenów. Obrazek zaaranżowany dobrze, ale czemuż ja „muszę" go sprzedawać!

24 kwietnia. Byłem wczoraj u Makarta, dawniej zdawało mi się, iż zdołam się na jego wysokości utrzymać! „Pochód uroczysty" skomponował tak, jak od czasów, gdy malarstwo istnieje, nikt, prócz Rubensa, nie był wstanie!

25 kwietnia. Potrzeba 150 guldenów, dostałem 15.

26 kwietnia. Ten X. był znowu, dałem mu masę malowideł za 20 guldenów i muszę się cieszyć, że chociaż przyszedł. A jednak jak mi żal było, jak serdecznie żal! Udawałem przed Anną i śmiałem się. Przecież „musimy" mieć pieniądze.

28 kwietnia. Pani X. X. była; prócz niej, gość z Hamburga, przed którym udawaliśmy z żoną, iż jesteśmy bardzo zadowoleni. To straszne nad wyraz!

29 kwietnia. Śmierci pragnę szczerze. A przecież ja bym tak chciał żyć, lecz człowiek morduje się walką. Moje życie cierpi na brak pieniędzy, zadowolenia, uznania. Rachunek dra K., 2 guldeny — umiarkowany, lecz egzekucya od dra M. 15 guldenów — 15 guldenów dla mnie!!...

30 kwietnia. Radzą mi, abym mniej był artystą, a więcej kupcem. Nie, raczej się zadławić, niż sprzedawać moją cześć malarską.

1 maja. Początek wiosny, to najuroczystszy dzień w roku. Byłem bliski wyskoczenia oknem; żona i dziecko uspokoili mnie. Zaczynam czuć, iż mam obowiązek życia i decyduję się żyć. Tęsknota do zimnej ziemi, do snu wiecznego, do tego spokoju bez marzeń — znika. Ziemia, świat pozorów znowu mnie mają, niestety i ja je.

14 stycznia 1881 r. Niewiele takich namalowałem obrazów. Naszkicowałem aleję topolową, sprawia mi ona wiele zadowolenia.

20 stycznia. Jakto? więc jeszcze choroba do tego! Powinienem jechać do kąpiel, alež ja nie mam za co kupić proszku salicylowego — bezsenność i chloralhydrat.

24 stycznia. Bardzo jestem znękany i pracować nie mogę. Wystawa otwarta. Mój obraz nie podoba mi się.

26 lutego. Otrzymałem, mam „Reichel-Preis" (nagroda). Walch w tej chwili zawiadomił mnie; 1,500 guldenów, mogę długi opłacić i zyskam jedno lato studyów na wsi.

31 marca. Dają mi 2 guldeny. I niemaż że gromu dla tego miasta!...

1 kwietnia Atak duszności w nocy. Ledwie poruszam mojemi „zwłokami". Czy aby ten rok przeżyję?

2 kwietnia. Uspakajam moje nerwy tem, że wracając do domu, staram się nazywać spotkane przedmioty odpowiednią nazwą, im właściwą. Uprosiłem żonę, aby schowała wszystkie noże.

6 kwietnia. Doświadczeni znowu wołają: Powinien swoją sztukę poświęcić, tak malować jak inni; o! z jakąż chęcią zaprzestałbym malować, gdybym mógł to sobie nakazać. Jakto, ja mam malować jak pierwsza lepsza miernota bez dążenia wyżej — i to mi radzą przyjaciele? Jakto, ja mam oszukiwać? Nie, nigdy!

* * *

obejmujących zupełny, wypracowany aż do szczegółów plan reformy wykształcenia ludowego we Francyi. Z chwilą zniesienia klasztorów, które do tej pory były środkami nietylko duchownej ale i świeckiej wiedzy — kwestya wykształcenia mas stanęła na pierwszym planie trosk młodej Rzplitej. Tu wielka potrzeba wywołała tak wielki nakład pracy Condorceta. Pierwszy memorjał rozpatruje charakter i granice udziału państwa w wykształceniu. Rozpoczyna od kategorycznego zdania, że kształcenie publiczne należy do obowiązków państwa; żadna równość ani wolność nie iest możliwą bez takowego, każdy bowiem człowiek „nie umiejący czytać i nie nający początków arytmetyki“ zależnym się staje od każdego znowu, kto wyżej stoi od niego pod względem wykształcenia. Szkoły powinny się dzielić na trzy kategorje: niższy typ szkoły powinien uwzględnić ogólne potrzeby wykształcenia bez względu na przyszłe zajęcia i upodobania: średni — ma na celu wykształcenie narodowe, rozpoczynając od rzemiósł i kończąc na profesyach liberalnych. Najwyższy zaś typ szkoły — ma na względzie czysto naukowe wykształcenie. „Powinien stworzyć ludzi, którzy przez odkrycia i wynalazki mogą wpływać na postęp ludzkości“. Condorcet uważa, że szkoła nietylko ma istnieć dla dzieci. Jeżeli bowiem — mówi — nie podtrzymujemy i nie odżywiamy w późniejszym czasie drobnych kiełków nauki elementarnej, to nieodwołalnie zaginą. Rólnik albo robotnik wogóle zajęci w tygodniu wyczerpującą ich zupełnie pracą fizyczną mają wolny zaledwie dzień niedzielny. Z tego właśnie należy korzystać i utworzyć kursa niedzielne przy szkołach wszystkich trzech typów. Równie oryginalny był jego drugi pomysł szkoły bez różnicy płci. Dlaczegóżby — pyta — zamknąć przed kobietą możność zdobywania wiedzy? Przypuszczając nawet, że nie są one zdolne do współdziałania postępowi nauk przez nowe odkrycia, co atoli ma miejsce w tych tylko razach, gdzie odkrycie wymaga niezwykłej siły mózgu, — to czyż nie są zdolne kobiety do rozpowszechnienia w społeczeństwie wiedzy przy pomocy np. podręczników elementarnych. Giętkość umysłu i częsta styczność z dziećmi czyni je do tego bardziej zdolnemi niż mężczyzn. Dobry jednak podręcznik może być napisany tylko przez tego, kto wie więcej niż mieści sama książka“.

W innym memorjale poświęconym specyalnie kwestyi organizacyi wykształcenia elementarnego Condorcet żąda utworzenia w każdej wiosce szkoły z czteroletnim kursem w celu nauki czytania i pisania, początków arytmetyki, najprostszych zagadnień geometrycznych, miernictwa i historyi naturalnej w zastosowaniu do rólnictwa. Ten cykl wiedzy ma na celu uczynienia przyszłych obywateli jak najbardziej niezależnymi w walce o byt. Condorcet nie zapomina wszakże i o kształceniu uczucia: „nauczyciel powinien wybierać do czytania książki treści takiej, któreby poddawały uczniom myśli o konieczności współczuwania bliźnim i zwierzętom, filantropii i człowieczeństwu“. Na wstępnym szczeblu tej drabiny szkólnej znajdują się szkoły okręgowe. Tutaj następuje różniczkowanie nauki na ogólną i rzemiosłową i pewna cząstka tylko czasu poświęcona jest pierwszej. I tutaj kurs trwa cztery lata. Podstawy matematyki, historyi naturalnej i fizyki, prawa państwowego Francyi, gramatyki, metafizyki, logiki, historyi i geografii — oto plan, który uwzględnić musi wykształcenie ogólne. Wykształcenie rzemiosłowe powinno być skierowanem na te mianowicie nauki specyalne z których korzyść odnieść mogą najliczniejsze grupy uczącej się młodzieży. Na trzecim stopniu tej hierarchii znajdują się w stolicach departamentów „instytuty“, coś w rodzaju naszych szkół gimnazyalnych. I tutaj stosowana matematyka, fizyka i nauki przyrodnicze na równi z historją i geografiją, polityką, ekonomiją i metafizyką zajmują centralny punkt wykształcenia. Języki klasyczne stoją na dalszym planie. „Wykształcenie ofiarowane przez państwo — mówi nasz filozof — powinno dać obywatelom możność dalszego doskonalenia się. Wystarcza zatem nauczyć tyle łaciny, ażeby umożliwić czytanie łatwiejszych książek. Dla ludzi wolnych od jarzma autorytetów jest stokroć ważniejszem zapoznać się z tem, co jest dowiedzionem faktycznie, jak z tem co myślał ongi jeden lub drugi myśliciel. Zamierzamy kierować się rozumem, a nie przykładami starożytnych autorów“.

Na szczycie tak zbudowanej piramidy chciałby Condorcet widzieć towarzystwa naukowe, które mają na celu nie rezultaty pedagogiczne, ale czystą naukę. Każdy departament powinien posiadać podobną instytucją, w której znajdowaliby się przedstawiciele wszystkich nauk. Na czele zaś zrzeszonych akademii prowincyonalnych ma stanąć towarzystwo narodowe sztuk i nauk. Zadaniem jego będzie nadzór nad wszystkiemi szkołami, troskliwość o nowe okrycia i udoskonalenie takowych.

Ta najwyższa akademia dzieli się na cztery sekcye: 1) matematyki, 2) nauk moralnych i politycznych, 3) nauk stosowanych, 4) lingwistyki, literatury pięknej, erudycyi i sztuk pięknych.

Nie omawiając bliżej stanowiska Condorceta względem szybko się zmieniających perypetyi przewrotu francuzkiego przechodzimy obecnie do najważniejszej jego zasługi naukowej, do dzieła, które unieśmiertelniło jego imię w dziejach socyologii do „Obrazu postępu rozumu ludzkiego.“ Od czasów Monteskjusza — mówi Comte — jedyny krok naprzód, który uczyniła socyologia wiąże się z nazwiskiem wielkiego i nieszczęśliwego Condorceta. W jego traktacie po raz pierwszy sformułowany został ruch postępowy ludzkości“. Główną zasługą „Obrazu“ jest pogląd, że pojedyńcze stadja społeczeństwa rozwijają się jedne z drugich najzupełniej naturalnie. W tej formie nie znajdujemy tego poglądu u żadnego z poprzedników Condorceta, ani „Monteskjusza“ ani „Turgota“, jakkolwiek ten ostatni twierdził już, że ludzkość zdolną jest do doskonalenia się i dąży ku temu nieubłagalnie. Zasługa Condorceta jest tem większa, że pierwsza próba zbudowania filozofii dziejów — mówimy tu o „Scienza nuowa“ J. B. Vico — ujęła dzieje powszechne i historją każdego społeczeństwa w formułę stale powracających młodości, dojrzałości i starości. W taki sposó rozwój nie nakreśla linii nieprzerwanej rozwoju, ale przeciwnie zamykające się ciągle koło (circoli). Nie należy brać za złe Viconowi, że konstrukcya jego tchnie takim beznadziejnym determinizmem bezpostępu, ale do początków francuzkiej rewolucyi nic na Zachodzie nie kazało się spodziewać i przewidywać postępu. Jeżeli porównamy rzeczpospolitą świata klasycznego z feodalną anarchią średniowieku, albo absolutyzm XVI i XVII w. z gminowładztwem i ograniczoną przez stany monarchiją XIV i XV stul., to w rezultacie tych porównań nie otrzymamy wrażenia postępu. I Condorcet nie przeczył takiej sprzecznej z jego zasadniczym poglądem „prawdzie“ historycznej. Oto jak prostuje tę sprzeczność. „Postęp rozumu ludzkiego nie posuwa się zawsze równolegle z ruchem społeczeństw ludzkich ku szczęściu i cnocie; innemi słowy — zostaje albo w tyle, albo wyprzedza ten ruch. Tak należy sobie objaśnić fakt, że w dobie wieków średnich w czasie zupełnego zaniku wiedzy niewolnictwo zamienionem zostało na poddaństwo, a w czasie odrodzenia upadek form politycznych miał miejsce jednocześnie z rozkwitem nauk i sztuk“. Traktat Condorceta jest zupełnie wolny od wpływów Russa i Monteskjusza. „Czytelnik przekona się, że nie rozwój nauki, ale jej upadek stwarzał „nierówność między ludźmi“ i zanieczyszczał ich sumienie chwastem grzechu. Wiedza nietylko nie prowadziła ludzi na drogę grzechu ale udelikatniała ich obyczaje, a niekiedy poprawiała i zmieniała takowe“. Monteskjusz objaśnia całkowitą różnicę form politycznych różnicą wpływów środowiska fizycznego. Nie probuje nawet ustanowić zależność prawa od stadjów uspołecznienia, które przechodzą nietylko narody, ale i ludzkość. Condorc.t rozpoczyna przedewszystkiem od formuły postępu — zachowując sobie ocenę wpływów, które przyspieszyły albo zatrzymywały rozwój pojedyńczych państw i narodów. I bynajmniej nie poprzestaje na zestawieniu ogólnych zasad: ilustruje je przykładami: z jednej strony ogłasza rodzinę patryarchalną jądrem zaczątkowem wszystkich plemion, to znowu — o całe stulecie wcześniej niż Fustel de Coulanges — sądzi, że „system feodalny nie jest bynajmniej biczem naszych stosunków, ale że można stwierdzić jego istnienie na całej powierzchni ziemskiej na jednych i tych samych stopniach cywilizacyi“.

Nie można bynajmniej oskarżać Condorceta o to, że jego praca w ogólnym zarysie okazała się bladą, a w szczegółach błędną. Nie zapominajmy, że embrjologia społeczeństw nie istniała zupełnie, ani archeologia, ani etnografia, ani porównawcza historya prawa. Nie przeczuwano jeszcze kolejnego następstwa rodziny macierzystej i patryarchalnej, ani wspólnej i indywidualnej własności — równie jak i późniejszych zwycięstw porównawczej lingwistyki i mitologii porównawczej. Zaledwie w dziełach Lafiteau (Obyczaje dzikich amerykańskich“) i w pracach podróżników znaleść można było przebłyski racyonalnych zapatrywań. Odnajdujemy też ich wpływ w dziele Condorceta.

Ostatnią epokę postępu rozumu ludzkiego rozpoczyna Condorcet od Kartezjusza i kończy Rewolucją. Tutaj uwzględnia głównie tylko

---

Tak bezmiernie cierpiał ten człowiek — pisze Spier — pod naciskiem nieubłaganej nędzy, tak rozmiażdżała go codzienna potrzeba — w walce o byt. Kunsthaendlerzy za niezwykle nizkie ceny nabywali jego prace, pozbawiając możności „bezpośredniego“ zarobkowania. Jednak nawet ten nadzwyczajny „przymus“ nędzy, niezdołał wykoleić go z raz obranej drogi. Nie, on ze swym określonym, zdecydowanym ideałem zdołał się przecież z tej strasznej, zagładą grożącej walki wydobyć — wprawdzie z zachowaniem swego „ja“, ale za to z nerwami starganemi.

Blizko dwuletnia niemoc przykuła go do łoża, nareszcie pewien wiedeński bankier, zaliczkami na poczęte lub dopiero począć się mające obrazy, umożebnił istnienie artysty. Dobrze to był umieszczony kapitał, dawał on nietylko procenty, lecz i procenty od procentów!...

Następnie zjawia się jeden z kunsthaendlerów wiedeńskich (prawdopodobnie jedyny w całym Wiedniu, dla którego sztuka była czemś więcej, niż „interesem“), ten zawarł umowę, iż brać będzie wszystkie obrazy Schindlera „nieograniczając“ przytem indywidualności i twórczości artysty.

Schindler urodził się w 1840 roku w Fischamed, zmarł na Sylcie 1892 r.

* * *

Było to już po śmierci tego artysty: przejeżdżając przez Wiedeń, wstąpiłem do Kunstlerhausu. Wielka sala wypełniona była obrazami zmarłego. Popiersie wieńcami zarzucone stało samotnie w pośrodku, w głębi zaś jego ostatni obraz „Pax“, przedstawiający wielkie Campo-Santo włoskie wśród skał, cyprysami ocienione; znać świeżo deszcz zrosił te grobowce, strugi wody gdzieniegdzie odbijają szare, zwisłe na szczytach skał chmur całuny. Niewymowny, cichy smutek i zarazem spokój wlewa w duszę widza ten obraz: smutek, głęboki, serdeczny, rzewny, bez rozpaczy, raczej zazdrość dla tych, co po życiu walki z głupotą ludzką, życiu pełnem intryg i nizkości, spoczęli pod temi marmurami dzikiem kwieciem ubranemi — snem bez marzeń...

Maryan Wawrzeniecki.

Monachium, w styczniu 1895 r.

rozwój wiedzy: matematyki i astronomii aż do metafizyki i etyki. Wypadki polityczne ostatniej chwili uważa, jako początek nowej ery dla całej Europy. Dalszy postęp ludzkości powinien znaleść swój wyraz w coraz silniejszej równości umysłowych, społecznych i politycznych warunków pojedyńczych narodów i plemion, a także obywateli jednego państwa. „Nadejdzie chwila, kiedy słońce promieniami swemi będzie oświecać ludzi wolnych, którzy uznawać będą nad sobą tylko władzę rozumu". Rozwój moralny ludzkości w jego pojęciu dążyć będzie do coraz potężniejszego „w ludziach i narodach uczucia solidarności".

W perspektywie nieograniczonego i niewstrzymanego postępu ludzkości Condorcet — jak sam twierdzi — znajdował nagrodę swych czynów i pociechę śród ciasnego obrazu występku i grzechów, który snuł się przed jego oczyma. „Myśl o przyszłości każe zapominać o teraźniejszości. Łącząc się w myśli z człowiekiem przyszłości, z człowiekiem odrodzonym w prawach i jaśniejącym całe dostojeństwem swej natury, znajduje każdy myśliciel swe pola elizejskie, które miłość ludzkości rysuje w jego wyobraźni jako pełne najczystszych rozkoszy!" Tak kończy Condorcet swój traktat — i prawie życie swoje. Po tryumfach Robespiera nie sądził się pewnym życia. Napisał też testament, w którym polecając swoją córkę przyjaciołom mówi między innemi: „Boję się, ażeby moje nieszczęsne losy nie natchnęły ją uczuciem zemsty. Niechaj nauczą ją przezwyciężać podobne uczucia, działając w mojem imieniu i mówiąc, że ja nigdy nie żywiłem takowej"...

Condorcet wzięty do więzienia przez siepaczy Robespiera znaleziony został 29 marca 1794 r. martwym w swej celi. Nie znaleziono przy nim broni, a obdukcja lekarska nie wykazała skutków otrucia. Nie należy przeto wierzyć często powtarzanemu podaniu, jakoby sam przeciął nić swego życia. Dzisiaj postawiła mu Francya pomnik. Ale i bez tych oznak zewnętrznej pamięci potomnych, nie zapomni o nim ludność, ani jej historya. Jest w dziejach losów ludzkich obrazów wiele, które znaczą dobę epoki; jest wiele innych, które wloką za sobą długie smugi światła, niby ogony przy kometach, których ciepło i w późniejszych stuleciach siły swej nie traci; są takie, których nie zapomina nigdy myśl i serce wierzące w przyszłość i postęp — i z jednym z podobnych obrazów związanem jest imię Condorceta, uczonego i człowieka: Wokół szaleją zawieruchy rewolucyi, rozbestwienie dni Robespierowych przechodzi zdawałoby się granicę możliwości i wytrzymałości ludzkiej — a w skromnej celi swej duma myśliciel nad niepowstrzymanym w swym rozwoju, koniecznym, dumnym *„Postępie rozumu ludzkiego."*

T. K.



KRONIKA LODYŃSKA.

Londyn, 11 lutego.

(Z nowym rokiem... Trzy wystawy dzieł sztuki. Turner i Reynolds w Akademii. Sztuka wenecka w New Gallery. Z beletrystyki: Jerzy Meredith.)

Z nowym rokiem zawrzał ruch przyspieszonem tętnem na całym obszarze umysłowości. Jakby z rogu obfitości spadają na nas pod brzemieniem cywilizacyi upadających śmiertelników coraz to nowe dzieła ducha ludzkiego. Gwiazdka przyniosła nam dwie pantominy, w których maszyniści walczą o lepsze z kostyumerami a idyotyzm fabuły z płaskością dowcipów. Znakomicie wyróżnia się z pośród sztuk spektaklowych udramatyzowana baśń niemiecka pod tytułem: Hänsel i Gretel.

Przepiękna muzyka Humpendincka w połączeniu z doskonałą grą i śpiewem artystów czynią na trzy akty rozwałkowaną bajkę nie tylko znośną, ale przyjemną. W swoim rodzaju jedynem widowiskiem jest Oryent, który, bazarami orkiestrami, efektami świetlanemi, przepychem i baletem wschodnio-londyńskim rozgościł się w olbrzymiej Olympii, Dalej notuje statystyka dwie nowe operetki: Model malarza — przez ulubionego kompozytora Sydney Jones'a i seniora muzyków tutejszych, Artura Sullivna: The Chieftain. Na deskach scen poważnych ukazały się nie mniej jak cztery sztuki, wszystkie godne uwagi, wszystkie płody piór literackich. Słów kika o nich w następnym liście.

Sędziwa akademia sztuk pięknych zgotowała wspaniałą biesiadę, odsłaniając przed oczyma tłumów świetną odsetkę świetnych dzieł dawnych mistrzów angielskich. Wraz z wrastającą na lądzie stałym anglomanią, propagowaną przez kilka znakomitości francuzkich, niebawem zapewne dowie się świat szeroki, że W. Brytania posiada w litanii mistrzów pędzla gwiazdy pierwszej konstelacyi, które nie uroniłyby nic z swego blasku na lazurowem niebie Włoszech, stałyby się chlubą de la belle France i oryginalnie odbijałyby na tle cennej, lecz wielokrotnie małomieszczańskiej sztuki flamandzkiej. Dumę Anglii, Turnera reprezentuje w salach akademii „rzeka Trout". w rzeczywistości przypominająca wielce Wartę, malowana z fantazyą w pierwszych latach karyery artysty. Szczególnie pięknym odłamem natury są „brzegi Tamizy", widziane w złotych blaskach popołudniowego słońca. Trudno płótno to nazwać krajobrazem; ściśle biorąc Turner nie malował krajobrazów. Jest to raczej wizya, którą twórczy umysł artysty ujrzał pod wrażeniem natury. Scenerya jest pogodną a w pogodzie swej wesołą; zda się żyć pod pędzlem mistrza, odczuwać jak człowiek ożywcze, dobroczynne ciepło słoneczne i doznawać rozkoszy. Widok morski Turnera, chociaż wykończony na zimno, uwydatnia nie mniej dobrze właściwości tej dziwnej indywidualności. Jak wybornie uchwycił tu impresyonista bieg chmury, zbogacającej wody obfitym deszczem, jak żywo oddał ruch fal uderzających w bok statku, jak subtelnie zaznaczył ląd, wieżę kościoła i w morze rzucony pomost, po przez siatkę wilgotnej mgły!

Zaszczytnie przedstawia się inny wielki malarz — Joschna Reynolds, portrecista, pierwszy prezydent kr. akademii. Dziwnem zda się, że ów głuchy stary kaweler, który zażywał tabakę i pisał nudne pamiętniki, znalazł na swej palecie farby do odtworzenia wdzięku, niewinności i zalotności dzieci. Mały Crewe i nadobna Kitty Fisher nie ustępują w niczem inny dziełom angielskiego Rembrandta. Jerzy Romney, Tomasz Lawrence, Tainsborough, współcześni Reynoldsa portretyści, Constable, rywal Turnera grają dominujące role w tym koncercie i widz stawia sobie pytanie, czy współczesna szkoła angielska za lat sto równie żywo przemawiać będzie do umysłów innych generacyi.

Na ścianach Grafton Gallery zawisły dzieła dawnych malarzy szkockich, z Raeburnem na czele. których sztywne i konwencyonalne, lubo nie pozbawione zalet technicznych obrazy, mijamy bez wrażenia. Natomiast dobrze świadczy o stanie sztuki w królestwie św. Andrzeja John Gordon, który w kilku portretach a zwłaszcza znanej na kontynencie podobiznie sędziego z Porthhead uwydatnił kardynalną portrecisty zaletę: pochwycenie charakterystycznych rysów postaci.

Zbiory w New Gallery przenoszą nas w odległe czasy Wenecyi dożów. Nietylko dzieła pędzla składają się na ciekawą wystawę, lecz także majoliki, fajanse, bronzy, koronki, tkaniny a nawet okazy introligatorskie, numizmatyczne i autografy, odtwarzające niemal skończony obraz sztuki weneckiej, która rozwijała się samoistnie i odrębnie od innych centrów Italii. Weneckich artystów XVIgo wieku najwybitniejszem usiłowaniem było olśniewać orgią kolorów, nieraz arcyprymitywnie dobieranych. Ztąd portrety Bartolomeo Montagna nie wiele różnią się od bohomazów. Ratuje je delikatny acz bezduszny rysunek twarzy. Inaczej atoli wyglądają głowy na płótnach Bartolomeo da Messina, wpadające w oko potęgą charakterystyki i ścisłością rysunku. Słynny Giorgione sąsiaduje z dwoma swymi naśladowcami Titianem i Sebastiano. Niepojęty wygląd liści razi i psuje harmonię na jednym obrazie sławnego krajobrazisty, lecz „Pastuch z fujarką" wynagradza rozczarowanie. Cała wystawa, na którą złożyły się skarby księcia Westminsteru i innych magnatów. urządzoną jest z wielkim gustem i zaleca się chociażby jako spektakl.

Krytyk angielski Edmund Gosse oznacza przeciętną liczbę powieści ukazujących się tu rocznie na trzysta. Zdaje się, że cyfra ta podskoczyła znacznie, gdyż statystyka twierdzi, że z dwóch tysięcy trzystu książek, które wyszły w zeszłym roku, czwarta część przypada na beletrystykę. Rozwielmożniła się ona w literaturze po dyktatorsku. z uszczerbkiem materyalnym powag europejskiej sławy nawet jak n. p. Herbert Spencer. Naturalnie znaczny procent książek tych rekrutuje się z tandety literackiej, która ujrzenie światła dziennego zawdzięcza ogromnemu popytowi na płody fikcyjne i, co z tego wynika, pobłażliwości wydawców. Na tem tle wszakże, ginącym w pomroku, występuje plastycznie cała galerya talentów, których pisma posiadają wartość literacką i cieszą się uznaniem więcej niż efemerycznem. Obok Jerzego Moore'a, który z „Esterą Waters" w ręku sięgnął po najwyższe wawrzyny, figuruje tu autor „Egoisty", Jerzy Meredith, należący do szczupłej garstki pisarzy, którzy bez względu na rynek zbytu. na wydawców i szersze koła czytelników, szli szlakiem swego natchnienia i — po siwieli zanim zdobyli palmę uznania. Zupełnie oryginalna indywidualność jego, głębokość umysłu spekulatywnego oraz dziwaczny styl, który Anglik wzbrania się uznać za angielszczyznę, kładły się kamieniem na drodze do poklasku publiczności, gdyż uprzedził on smak tych kół nawet, które zwykły nadawać ton i wręczać istotne dyplomy wielkości.

Obecnie mamy przed sobą świeże dzieło psychologa-idealisty, na które składają się trzy krótsze powieści: „Powieść o Chloe", „Dom na wybrzeżu" i „Sprawa generała Ople i lady Camper". „Chloe" jest charakterystyczną pracą tego pióra; talent autora ujawnia się tu w pełnym blasku. Fabuła tej powieści tak jest subtelną, charakter bohaterki tak głęboko i oryginalnie pomyślanym, że nie da się ująć w słowa obcego pióra. Dość, że jest to historya „iluzyi" poczętej przez rządką, a piękną naturę trzymającą się jej „oburącz przez miesiąc". Piszący nie ma najmniejszej wątpliwości, że rzecz cała jest psychologicznie zupełnie uprawnioną chociaż wyda się niezawodnie niejednemu niepojętem, aby ktoś mógł z „gwałtownie upragnionej iluzyi" — iluzyi, która nie jest iluzoryczną lecz wbrew rozsądkowi, przez silną wolę kreowaną — wydobyć zadowolnienie duchowe i pociechę. — Realistyczna historya. „Dom na wybrzeżu" jest mniej ciekawą. Natomiast „Sprawa generała Ople" dorzuca do galeryi żołnierzy Mereditha typ egoisty na małą skalę, egoisty z ograniczoności, z podkładem pogodnej prostoduszności. Powieść ta jest jedną z dowcipniejszych prac Meredithe, a dowcip jego jest nie wymuszonym i na wskroś ludzkim. Jeśli „Chloe" jest tragicznym brylantem, to „Sprawa generała Ople" — perłą komedyi.

Nobody.

NA WYŁOMIE.

(Głos ludu. — Rozwidnia się. — Cześć ks. arcybiskupowi! — Nowy tytuł. — Co mówią Niemcy o „Kuryerze")

Udało się „Kuryerowi Poznańskiemu" w najświeższym czasie zainteresoować dwukrotnie publiczność szeroką. Raz — a było to w pamiętny dzień cesarskich urodzin — zaprezentował nam śpiewak lojalizmu symptomy nowej choroby umysłowej, ochrzczonej przez jednego zpsychiatrów „monarchomanią", — a w tydzień później ogłosił światu list arcypasterski, ostrzegający spo

czeństwo polskie, aby mówiąc „*Kuryer*“, nie myślało „*Arcybiskup*“. Czas był istotnie najwyższy wystąpić na forum z zaprzeczeniem takiem, bo w tłumach szerokich wrzeć już poczęło i wrzało coraz potężniej. Wsłuchując się nieraz w te szeptane opowieści, krążące po mieście i prowincyi, odczytując korespondencye, nadsyłane z sfer różnorodnych do redakcyi, sumując wszystkie objawy żalu, któremi witano organ „*arcybiskupi*“, czułem wyraźnie, że struna z dniem każdym napręża się coraz więcej, a przepaść między ludem i pasterzem jego rozszerza się z minuty na minutę. Czegoż tam sobie nie opowiadano na zebraniach towarzystw naszych, po cukierniach, piwiarniach i handelkach! Mówiono, że korekty poważniejszych artykułów wracają często po upływie 24 godzin z dopiskami, nieznaną, nie-redaktorską skreślonemi ręką, że na marginesie spotyka się nieraz uwagi w łacińskim ułożone języku, że kapelan arcybiskupi codziennie niemal składa wizyty redakcyi „Kuryera“, oglądając się trwożnie, czy ktoś nie śledzi go okiem ciekawem, a gdy redaktor lojalnego pisma ukazał się w okolicach tumu, wnet całe Chwaliszewo szeptało sobie na ucho: „Zobaczycie! jutro będzie bomba w „Kuryerze“. Ostatecznie na całym obszarze zaboru pruskiego za istotnego kierownika „Kuryera“ uchodził ks. Arcybiskup, a wobec bezustannych herezyi i nonsensów, ogłaszanych w tem piśmie, cierpiała powaga arcypasterska i atmosfera nieufności poczęła naród ogarniać. Wśród ludu krążyły legendy coraz dziwaczniejsze. Opowiadano sobie np., że pewne artykuły drukują się po godzinach roboczych, pod specyalnym nadzorem jednego z kapłanów, a czcionki ustawia dawniejszy *meteur en pages* „Kuryera“, obecny lajek w jednym z klasztorów francuzkich, — mówiono dalej, że często w jednej i tej samej kwestyi nadchodzą z tumu dwa artykuły — jeden dla „Dziennika“, drugi dla „Kuryera“, — jeden w tonie umiarkowanym, drugi w bombastycznym lub piorunującym — i podobnych wersyi mógłbym tu jeszcze całe seciny przytoczyć. Pajęczyna najfantastyczniejszych, często zdrowym humorem zaprawionych legend, oplotła pałac arcybiskupi i redakcyę „Kuryera“, a w każdej niteczce tej pajęczej siatki tkwił cichy protest przeciw rzekomej spółce najwyższej głowy Kościoła naszego z redakcyą kompromitującego się bezustannie organu. Gdy w końcu kompromitacya doszła do szczytu w pamiętnym artykule o urodzinach cesarskich, a oczy społeczeństwa znowu niespokojnie zwróciły się ku wyżynom tronu arcyibskupiego, dłużej milczeć bez protestu było niepodobieństwem. Najwyższy zwierzchnik Kościoła naszego zrozumiał fatalne położenie, zrozumiał, że noc „Kuryerowa“ mrokiem swoim tron jego ogarniać zaczyna, zrozumiał, że ból ludu, powierzonego pieczy pasterskiej, ukoić trzeba, i oto skłonił „Kuryerowe“ organy do zagrania takiej piosenki, jakiej zapewne panowie redaktorzy nie przeczuwali nigdy. Ks. arcybiskup Stablewski oświadcza publicznie, że za artykuły „Kuryera Pozn.“ „ani *pośrednio* ani *bezpośrednio* żadnej nie bierze odpowiedzialności“, „że nikt nie ma się domyślać w „Kuryerze“ osobistych zapatrywań, lub wskazówek arcypasterskich“, że wreszcie o artykule p. t. „W dzień urodzin cesarskich“, powziął dopiero wiadomość porówno z innymi czytelnikami „Kuryera“.

To zaparcie się lojalno-klerykalnego organu, ten protest dyskretny przeciw monarchicznemu obłąkaniu i zasadzie królewskiej nieomylności w łamach osławionej bibuły, jest w życiu naszem społeczno-narodowem nader poważnym i nader dodatnim czynnikiem. Dzisiaj zasłona arcybiskupiej opieki, która wielu rozumnym ludziom krępowała swobodę krytyki, spadła z Kuryerowych ramion, dzisiaj najwyższa głowa kościoła naszego polemizuje w misternej osłonie stylowych tłumików przeciw tej garstce zaślepieńców, która skupiła się około czarno-białego sztandaru i wypisała na nim dumne słowo: „Organ duchowieństwa! Kto nie ze mną, ten przeciw mnie, a kto przeciw mnie ten przeciw Kościołowi.“ Ha! Dowiemy się może niebawem od Kuryerkowych filozofów, że i ks. arcybiskup Stablewski jest wrogiem Kościoła. Zgotowano nam już tyle niespodzianek w tej fabryce bomb lojalizmu, że i taka nowinka do nieprawdopodobieństw nie należy zaiste.

Z arsenału „nowych prądów“ padały pociski najrozmaitszego gatunku: Okólniki, przekleństwa, bajki o socyalistach i masonach, bojkoty itd. — w najświeższym czasie ukazała się petarda amerykańskiego systemu: Paszkwil. W drukarni „Kuryera poznańskiego“ sporządzono w środę ubiegłą pamflet wierszowany, wymierzony przeciw autorowi feljetonów niniejszych i elaborat ten rozesłano w setkach egzemplarzy po mieście i prowincyi. Kolportowała go poczta, święte paniusie i redaktorzy „Kuryera Poznańskiego“. Ręka moja za uczciwa i za czysta, aby wdawać się w polemikę ze zgrają paszkwilantów. Nie tykam tych panów i jestem nawet tak rycerski, że podam im kilka sposobów, które z nieomylnym skutkiem w przyszłości przeciw mnie stósować mogą:

1. Niechaj panowie redaktorowie raczą w nocy powybijać mi wszystkie szyby. Gdy zegar dziesiątą uderzy, nie ma mnie zwykle w redakcyi i nikt im nie przeszkodzi w zaszczytnej robocie.
2. Niechaj nasadzą zbirów, uzbrojonych w pałki, na rogu Strzeleckiej ulicy. Tam zwykle przechodzę późnym wieczorem, a policyanta nie ma w pobliżu.
3. Niechaj porcyę witryoleju wyleją na ubranie moje. Jestem często zamyślony i zamach wtedy dopiero spostrzegę, gdy kwas w żywe ciało się wgryzie. Sprawca ujść zdoła bezkarnie.

Na życzenie dostarczyć mogę jeszcze kilka podobnych wskazówek. Dziś wyrażam tylko najgłębsze zadowolenie, że ks. arcybiskup Stablewski wyparł się organu, który do starego tytułu „Organ duchowieństwa“ dołączył nowy: „Kuźnia paszkwilów“.

* * *

„Posener Zeitung.“ charakteryzując polemikę „Kuryera Pozn.“ z pismem naszem tak pisze:

„Wyrażamy redaktorowi „Przeglądu Poznańskiego“ żywe ubolewanie, że skazany jest stawać do walki z przeciwnikami tego kalibru. Ileż razy Sulla z „Przeglądu“ uczuwać musi pokusę, aby parodyując słowa Fryderyka Wielkiego tak westchnąć: „I bić się tu trzeba z taką (bezmyślną) hałastrą (Gesindel). Każdy bezstronny musi przyznać, że w jednym numerze „Przeglądu“ jest więcej myśli (Geist) i dowcipu, niż w całym roczniku klerykalnego organu“.

Sulla.

WOLNE GŁOSY.

Od jednego z najpoważniejszych i wielce zasłużonych obywateli w Prusach Zachodnich odbieramy następujące pismo:

Taniec szkieletów.

Po utworzeniu komisyi kolonizacyjnej, gdy do niej ziemiaństwo nasze rzuciło się hurmem, skomponowano gdzieś kantatę pod tytułem: „Taniec szkieletów“, w której takie zachodziły wiersze:

My sprzedamy choćby wszystką ziemię,
By tylko hulać w szalonej ochocie,
By tylko skakać mogło nasze plemię,
Kąpać się długo i w winie i w złocie.
Bez serca, mózgu lekko skakać przecie
I nie czuć jarzma, co nam karki gniecie.

Te wiersze przypomniały mi się, gdy otrzymałem wiadomość, że w Toruniu po sejmiku gospodarskim nie tylko odbędzie się bal, ale że bal ten, mimo niewinnej firmy wieczorku posejmikowego, ma *przewyższać swą świetnością i hucznością wszystkie zabawy, jakiekolwiek bywały w Toruniu.* Widocznie chodzi o uświetnienie rocznicy ostatniego rozbioru Polski. Ze względu na cel tak szlachetny nie wahali się „wieczorku“ poprzeć nawet promotorowie wieców katolickich, którzy zresztą ogromnie się gorszą, ilekroć zauważą, że ich fornale urządzili sobie muzykę w chałupie. W roku bieżącym wszyscy tańczyć mają *z obowiązku*, tańczyć *na przekór „warchołom“*, którzy prawią, iż rok ten nie nadaje się do urządzania hucznych zabaw, że w tym roku zastanawiać się nad naszą dolą, a więc głową, nie nogami pracować nam wypada.

Podobno i w Prusach Zach., z kół obywatelstwa wiejskiego nie brakło słów przestrogi; ludzie poważni tłómaczyli, że można wybaczyć, jeżeli lud tańczy w tym roku, bo lud w ciągu ubiegłych lat stu nie podupadł, lecz podniósł się pod każdym względem i przyszłość ma przed sobą, ale ziemianie powinni głowy swe posypać popiołem i rozpamiętywać winy własne i ojców swoich. Jeżeli gdzie, to w Prusach Zachodnich obywatelstwo wiejskie wstąpiło w znak dekadencyi, bo jedni już zbankrutowali, inni zbankrutują lada dzień a resztę prowadzą do bankructwa podupadli krewniacy lub lekkomyślni synowie, odznaczający się chyba charakterem — w nogach.

Oczywiście panowie balownicy bawić się będą w lokalu niemieckim, rujnującym polskich restauratorów, choć istnieje w Toruniu polskie „Muzeum“ z piękną salą. Jeżeli dawniejsze bale posejmikowe dawały niemieckim oberzystom tysiące zysku, to w tym roku, kiedy po cesarskiem napomnieniu chodzi o zamanifestowanie lojalności Polaków, jeszcze większe sumy wpłyną do kieszeni protegowanych spółki H. T. K. Każe się tego domyślać zwiększony obrót wekslowy w kantorach żydowskich i pospieszne wywożenie resztek zboża z gumien ziemiańskich. Pokażmy Niemcom, co Polak potrafi.

Hulaj duszo!

Z estrady i sceny

Zwyciężony.

Dramat w 4 aktach przez Wł. Rabskiego.

Wieczór czwartkowy upamiętnił się na naszej scenie jako chwila wielkiego, ogólnego tryumfu. — Tryumf ten święcili artyści, którzy grą pełną życia i werwy porwali i unieśli licznie zgromadzoną publiczność, święcił go autor, bo serca i umysły słuchaczy podbił i opanował, święciło go i miasto nasze — bo wzbogaciło piśmiennictwo krajowe pierwszorzędnym talentem w najrzadszym rodzaju, na polu, które u nas prawie odłogiem leżało, na polu literatury dramatycznej.

„*Zwyciężony*“ nie jest pierwszym utworem młodego dramaturga. — Od pojawienia się „Ascety“ na scenie naszej upłynęło lat parę, a przez ten czas talent autora dojrzał, spotężniał, opanował się, a wrodzony polot, temperament, siłę ujął w karby miary artystycznej, która jest tak ważną, a tak rzadką utworów sztuki zaletą. Najtrudniej ją wyrobić w talentach wielkiej miary — a do takich śmiem zaliczyć wczorajszego zwycięzcę.

Pierwszy akt jego sztuki, obfity w dramatyczne zawikłania, budzi pewne obawy, że może tak rozpoczęta akcya w dalszym ciągu osłabnie, spadnie o ton niżej i zepsuje wrażenie artystyczne całości. Obawy to płonne, walka wciąż się wzmaga — interes ani na chwilę nie słabnie — przeciwnie, akcya potęguje się ciągle i dąży coraz szybszem tempem do nieuchronnej katastrofy.

Silne wrażenie, ogarniające słuchaczy — tem wyżej cenić należy, że autor zrzekł się zupełnie taniego, a zużytego środka, sztucznych, nerwy targających efektów. — W dramacie jego nie ma sztyletów i trucizn, trupów nie wynoszą ze sceny — zabójstwa nie grają żadnej roli. — Wszystko tu proste, wszystko z życia wzięte, wszystko jedno z drugiego wynika — a każda kolizya, każde zawikłanie dramatyczne ma źródło jedynie w duszach bohaterów.

I oto właśnie trafiamy na najważniejszy punkt wartości sztuki wczorajszej, na jej wewnętrzną, najcenniejszą zaletę: psychologiczną prawdę charakterów.

„Takie kreśl postacie, w którychby żywe biły serca“ — oto zasada kardynalna twórczości literackiej.

Zasadzie tej, nasz wielkopolski dramaturg w każdym szczególe wiernym pozostał. Jego postacie żyją własnem życiem, tak prawdziwe i tak konsekwentne — że słuchacz razem z niemi boleć, cierpieć — kochać lub pogardzać musi.

Zygmunt, szermierz nowych idei, bohater wyzywający do walki przeciwników z młodzieńczą wiarą w niechybne zwycięstwo — to natura silna i czysta. On nawet dla idei swej do sztuczek się nie zniża, niechcąc jej profanować nizkiemi środkami. W boju bezwzględny — lecz uczciwy, nie waha się poświęcić spokoju swej żony, nazwiska jej ojca i brata gdy chodzi o tryumf prawdy nad fałszem, cnoty nad obłudą.

A jednak miłość go rozbraja; wobec rozpaczy kobiety, która wszystko poświęciła dla niego — kobiety, którą kocha całą duszą, a której szczęcia dać nie może, kobiety, która już nie kochanką, nie żoną tylko, ale matką jego dziecięcia ma zostać — chwieje się i upada. I nikt za to potępiać go nie może, choć każdy czuje i rozumie jego boleść — i jego poniżenie. Bo tu nietylko o ideę chodziło, ale o sprawiedliwość, o zaniedbanie najświętszego obowiązku zdjęcia piętna hańby ze świeżej mogiły niesłusznie potępionego człowieka. To stłumienie pozagrobowego protestu niewinności, upominającej się o swe prawa — z odstępstwa tego czyni zbrodnią okropną, i znów nie dziwimy się wcale, że po spełnieniu tak strasznej ofiary, Zygmunt prawie wstrętu nabiera do żony, która jest dla niego żywym wyrztem sumienia. Rozumiemy go, gdy w ostatniej, wspaniałej scenie odtrąca splamioną rękę teścia i szwagra i jednem uczuciem pogardy obejmuje nietylko jej rodzinę lecz i ją samą, tę niegdyś ukochaną Martę, którą dziś „ułamkiem niewieścim“ nazywa. — A jednak, czemże zawiniła ona, która go do zguby przywiodła? Była dobrą, czułą, kochającą — zdolną do najwyższych poświęceń kobietą. I tu właśnie zaznacza się subtelny i głęboki zmysł psychologiczny autora. Skreślił typ niewieści tak piękny, że wśród innej sytuacyi, w innych życiowych warunkach, byłby on może ideałem skończonym, — a przecież zaznaczył, że doskonałością on nie jest, że trzebaby Marcie jeszcze wznieść się na wyższy poziom, by stanąć na wysokości zadania swego, że kochać i cierpieć to i dla kobiety nie wystarcza na wszystkie życiowe zawikłania — trzeba jeszcze wiedzieć i rozumieć, i czasem ponad płaską równinę czysto prywatnych i rodzinnych uczuć wzlecieć w sferę ducha, spojrzeć w słońce idei, umiłować społeczeństwo swoje, — sprawiedliwość i szeroko pojęty obowiązek obywatelski. Marta tego nie czuje — Marta jest tylko kobietą, żywem wcieleniem „des ewig Weiblichen“, które dziś już nie może być alfą i omegą doskonałości kobiecej. Przeciw idei walczy łzami, pocałunkiem, pieszczotą, skargą, lub jękiem rozpaczliwym — a gdy mąż jej wykazuje całą przepaść hańby, w którą ona go wtrąca, z jej piersi wyrywa się bardzo naturalny — lecz i bardzo egoistyczny okrzyk: „a ja!?“ Owo nieszczęsne „ja“, owo rozszerzone cokolwiek na pojęcie najbliższego rodzinnego otoczenia kobiece uczuciowe samolubstwo oto skała, o którą rozbija się łódź losów naszego bohatera. — A żona tak mało odczuwa, tak mało rozumie jego boleść i wyrzuty sumienia, że gdy kosztem męża rehabilitowany ojciec zapowiada swe przybycie, Marta rzuca się Zygmuntowi na szyję i poniesza go słowami: „dziś nowe słońce zabłyśnie w naszym domu.“ — Ile tu w tem prawdy — ile głębokiej ironii!

Obok głównej pary bohaterów grupuje się jeszcze kilka żywo odczutych i trafnie skreślonych postaci. Ruszczewski, zacny i nieszczęśliwy starzec, który poniżającą jałmużnę ostateczną hańbą, a hańbę śmiercią opłaca, a i stary sługa — całą duszą swemu panu oddany, wierny w doli i niedoli, co sam jeden łzę roni nazapomnianej i wzgardzonej mogile, to typy same w sobie skończone — to dwaj bohaterowie cichej tragedyi, która się równolegle do głównej akcyi i w związku z nią rozgrywa. I może do najpiękniejniejszych scen w dramacie należy ta, w której stary Turkiewicz w ręce redaktora składa testament zmarłego pana i ze łzami błaga, by „o nim ładnie napisali w gazetach“.

Prócz dramatu nie brak tu i satyry.

Składają się na nią przedstawiciele klasy przeżytej — skarłowaciałych potomków wielkich rodzin, którzy z rozbicia tradycyi rodzinnych umieli wynieść jedynie cześć dla pozorów i nizką obłudę. Jest tam typ redaktora, który nie służy idei, lecz nią się posługuje, służalca wielkich panów, nie gardzącego żadnym środkiem dla zdobycia głównego celu — pieniędzy i powodzenia. A jednak i ten obóz przeciwny bezwzględnie potępionym, nielitościwie przeczernionym nie został. Ratuje go uczciwy obywatel Modliński, postać drugorzędna wprawdzie, lecz i prawdziwa i dobrze nakreślona.

Dodać jeszcze należy, że język autora jest piękny, za piękny może miejscami w realistycznym utworze — lecz pełen uroku i wciąż przypominający widzom, że dramaturg jest zarazem poetą.

Złożywszy hołd autorowi, należy poklask oddać artystom. Benefisant, p. *Sosnowski*, z trudnego swego zadania wywiązał się znakomicie. Myśl autora pojął tak, jak tylko wyższej inteligencyi i szerszych pojęć człowiek pojąć ją jest zdolny, a to co myślą i sercem odczute zostało, talent pierwszorzędny wydobył na jaw i w postać Zygmunta wcielił. Panna *Zimajer* zgotowała nam miłą niespodziankę. Obawialiśmy się jeszcze w pierwszym akcie, że mimo subtelnego talentu i inteligencyi artystki, siły jej młode nie starczą dla trudnego zadania, nerwy nie zniosą naprężenia nadmiernego. Tymczasem zapał tak ją uniósł, ujawniła tyle temperamentu scenicznego, tyle dramatycznych pierwiastków w grze, że obawy nasze pierzchły i to, co mogło być przeszkodą, stało się niemal dodatnią stroną jej kreacyi. Dobrze, że słodka, kochająca, wypieszczona córa rodu Wareckich, przedstawiła nam się w takiej pełnej delikatnego wdzięku i drobnej postaci, — dziś już innej Marty wyobrazić sobie nie umiemy.

Należałoby jeszcze uczcić pochwalną wzmianką i p. *Trapszę* za jego pełną prawdy i werwy humorystycznej postać redaktora, i p. *Skirmunta*, który osobę hrabiego trafnie i z miarą artystyczną odtworzył, i p. *Królikowskiego*, który wzruszył nas do głębi — i p. *Skóraczewskiego*, który w roli starego sługi łzy nam wycisnął, i innych jeszcze sumiennych i zdolnych artystów, którzy wspólnemi siłami stworzyli skończony i pełny obraz całości. Braknie mi na to czasu i miejsca, niech pominięci wybaczą, bo grzmiące, frenetyczne oklaski, któremi darzono i artystów i autora, były dość wymownym wyrazem ogólnego zachwytu, w którym się cała publiczność zgodnie i solidarnie złączyła.

Iza Moszczeńska.

KRONIKA LITERACKA.

Arnsztajnowa F. (F. A. M.). Poezye. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1895, in 8-o stron 88.

„Czy w górę podnoszą mnie anielskie skrzydła, sokole, motyle — ja nie dbam“, mówi autorka w jednej ze swych poezyi, nic przeto dziwnego, że, zadawalniając się jakimkolwiebądź lotem, arcydzieła nie stworzyła. „Poezye“ jej nie porywają ani myślą śmiałą, ani uczuciem gorącem, ani bogatą wyobraźnią. Są to w formie poprawnej, salonowej, wypowiedziane wrażenia osoby inteligentnej i odczuwającej w pewnym, nawet dość znacznym stopniu czar przyrody. Niektóre jej sonety, a zwłascza dwa pierwsze, są uderzającem, choć może mimowolnem naśladownictwem Mickiewicza. Z innych wierszy najlepiej autorce udały się liryczne, mniej zaś opisowe. W ogólności „Poezye“ czytają się gładko i, z wyjątkiem paru drobnych usterek, nie rażą smaku estetycznego czytelnika.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Trzecie czytanie wniosku o przywrócenie zakonu Jezuitów w Niemczech odbędzie się w środę 20 b. m, — Obliczają, że w razie zaprowadzenia podatku na tytoń w Prusach, straci chleb 35,000 robotników. — W sejmie pruskim przemawiali posłowie dr. Dziorobek, dr. Mizerski i ks. dr. prałat Jażdżewski w sprawie niedostatecznej liczby polskich tłomaczów w sądownictwie.

Zjazdy i kongresy. Walne zebranie Banku Przemysłowców polskich w Poznaniu odbędzie się 18 b. m. o godz. 8 na sali p. Adamskiego. — Zebranie Tow. rólniczego na okolicę Kłecka i Kiszkowa odbędzie się 17 b. m. w Kiszkowie. — Walne zebranie spółki „Kasa pożyczkowa“ w Ostrowie odbędzie się w niedzielę 17 bm.

Teatr i muzyka. Wincenty Rapacki (syn) złożył Dyrekcyi teatru poznańskiego jednoaktową komedyę pt. „Plama“. Jednoaktówkę tę przedstawił autor równocześnie zarządowi teatrów warszawskich. — Scena poznańska wprowadzi niebawem na deski komedyą Abrahamowicza pt. „Pan Poseł“. — Na benefis utalentowanej artystki pani Trapszowej wystawi teatr nasz w najbliższy czwartek głośną operetkę p. t. „Gorąca krew“. — Paderewski opracował szkic fortepianowy trzyaktowej opery do libretta Alfreda Nossiga z motywów góralsko-węgierskich. — P. Brandowski, śpiewak opery frankfurckiej robi usiłowania celem wystawienia „Halki“ w Frankfurcie, na co się podobno Dyrekcya godzi. — Krytyka lwowska wyraża się nader pochlebnie o najnowszej sztuce Sudermanna, (Walka motyli) która w ubiegłym tygodniu ujrzała na tamtejszej scenie światło kinkietów. Warszawski „Teatr Rozmaitości“ poświęca przyszły tydzień nieomal wyłącznie Sudermannowi. W poniedziałek bowiem grają „Koniec Sodomy“ w środę „Gniazdo rodzinne“, w piątek „Honor“, w niedzielę „Koniec Sodomy“.

Zmarli:

A. A. Abaza, były rosyjski minister finansów zm. w Nizzy przed kilku dniami.

Szambelanowa Berling, najgorliwsza poplecznicżka propagandy ketolickiej w Danii zm. w Kopenhadze w początkach lutego.

Leon Fortuński, artysta-malarz zmarł 30 stycznia w Monachium.

BIBLIOGRAFJA.

Dr. Józef Siemiradzki. Za morze! Szkice z wycieczki do Brazylii. Lwów 1895. Cena 2,50 mr.

Walentyna Koroszkiewiczowa. Pamiętniki Lalki. Lwów 1895 Cena 2 mr.

Wacław Rudnica-Daniszewski. Uruchomienie własności ziemskiej i reforma kredytu rolnego ze stanowiska ekonomii społecznej. Dwa tomy. Kraków 1895. Nakładem Gebethnera i Sp.

Odpowiedzi Redakcyi.

Jednemu z życzliwych. Dziękujemy za informacye. Jest to ciekawa ilustracya stosunków poznańskich.

Dr. K. Dramat „Zwyciężony“ p. Wład. Rabskiego ukaże się na półkach księgarskich z początkiem wiosny.

—wicz. „Rodzina Połanieckich“ wyjdzie w formacie książkowym 25 bm.

Sprostowanie

W Nr. 5 w rubryce "Składki" czytać należy zamiast „Od kupców w Ośrrowie“ — „Od kupców w Ostrowie“.

Od Redakcyi

Przypominamy czytelnikom naszym składki na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 8. Poznań, Niedziela 24go Lutego 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ

WAŻNE WYZNANIE.

I.

„Dziennik Poznański“ odpowiedział na zaczepkę „Kuryera Poznańskiego“, że jest pismem „umiarkowanie liberalnem“ stosownie do obowiązujących go ustaw. To wyznanie politycznej wiary pisma, nader poważanego w kołach naszego obywatelstwa wiejskiego i inteligencyi po miastach, jest wypadkiem, zasługującym na szczególną uwagę społeczeństwa naszego w zaborze pruskim.

Pamiętajmy o tem, że ów „umiarkowany liberalizm“, czy on się zowie oportunizmem, czy narodowym liberalizmem, uchodzi dziś w Europie za firmę upadłą. Wiemy przecież dobrze, że tak w zachodniej jak i południowej Europie, że w Niemczech i w Austryi, przyszedłszy do władzy, korzystał z niej, aby kosztem ogółu zapchać kieszenie swych zwolenników. Wspominamy to dla tego, aby z góry zaznaczyć, że podobnego liberalizmu nie imputujemy ani „Dziennikowi“, ani jego opiekuuom i stronnikom. Przeciwnie — uznajemy w wyznawcach dziennikowego liberalizmu najlepsze chęci i zupełną bezinteresowność w działalności publicznej. Że stronnictwo, grupujące się około „Dziennika Poznańskiego“ dążyło zawsze i dąży jeszcze do zagarnięcia pod swe kierownictwo najszerszych kół naszego społeczeństwa, tego mu żaden rozsądny człowiek za złe poczytać nie może. Czemby było stronnictwo polityczne bez takiej dążności, i bez takiej — ambicyi?

Ale co nas najbardziej chwyta za serce, to otwarte przyznanie się „Dziennika“ do liberalizmu. Wprawdzie osłabił on to swoje wyznanie nadaniem mu przymiotu „umiarkowanego“. My przypuszczamy, że taka modyfikacya niczem więcej nie jest, jak środkiem taktycznym w polemice, wszczętej przez „Kuryera“ — coś w rodzaju drzwiczek tapetowyah, posiadających niemałe znaczenie w walce o dwóch frontach, t j. z przeciwnikami i własnymi przyjaciółmi. Przezorna gazeta u nas zwykła się liczyć i z zasadami i z abonentami, w każdym razie jednak przyznanie się do liberalizmu, chociażby do bardzo wodnitego, przez pismo, zażywające wzięcia w kołach naszego obywatelstwa wiejskiego i czepiające się fałdów inteligencyi, jest bardzo śmiałym krokiem naprzód. Wiadomo przecież, że od czasu, kiedy niewygasłej pamięci Dr. Matecki (a będzie temu lat dwadzieścia) przyznał się otwarcie na wiecu poznańskim „do liberalizmu“ i za to poszedł w „masony“, liberalizm u nas przycupnął, tak jakby był zamieszczony na indeksie rzeczy zakazanych.

Dziwimy się tylko jednej rzeczy: oto temu, że „Kuryer“ nie schwycił „Dziennika“ za słowo i także nie odesłał go w masony. A miałby ze stanowiska swego słuszność, bo liberalizm Dziennikowy zaakcentował się swego czasu głównie w walce przeciw naszemu „ultramontanizmowi“. Było to w czasie, kiedy ks. kanonik Koźmian pod opieką ks. arcykiskupa Ledóchowskiego zamierzał duchowieństwo nasze, a przez nie lud wyrwać z pod opieki bardzo chłodnej w rzeczach religijnych szlachty i inteligencyi. Tak jak za czasów reformacyi katolickiej w drugiej połowie szesnastego wieku, rozpoczęła się u nas walka o zdobycie dla siebie średnich i niższych warstw społeczeństwa naszego. W duchu tradycyi narodowych miała się chata chłopa naszego opierać jednym bokiem o plebanię, a drugim o dwór obywatelski. „Dziennik Poznański“ z całą gorliwością patryoty polskiego, wychowanego w wyobrażeniach „liberałów“ czteroletniego sejmu, propagował tę myśl tak samo, jak ją propagowali nasi ultramontanie z ks. Koźmianem na czele. Każdy jednak z przeciwników ówczesnych chciał zaludniać tak plebanią jak i dwór lokatorami swego własnego autoramentu. „Dziennik“ nigdy się nie wypierał katolicyzmu: nie był jednakże „in odore sanctitatis“ u swych przeciwników, bo oddając cześć głowie Kościoła katolickiego, Piusowi IX, najgorętszemu przyjacielowi naszego narodu, równocześnie okazywał sympatye dla sekularyzacyi Rzymu, flirtował z Garibaldim, Wiktorem Emanuelem, wreszcie i z Gambettą, wogóle ze wszystkimi liberałami na świecie, których nazwiska stały na liście proskrypcyjnej naszych „ultramontanów“. Palił on świeczki, jak to jeden z ówczesnych pamflecistów się wyraził, i Bogu i djabłu.

Duchowieństwo nasze „liberalizowało“ — w wielkiej przynajmniej części — przed przybyciem ks. arcyb. Ledóchowskiego. Ojczyzna tych księży nie była w Rzymie. W chwilach krytycznych, gdy zdawało się, że zachodzi kolizya między wymaganiami władz kościelnych, a obowiązkiem względem ojczyzny, oni woleli stanąć pod komendą komitetów obywatelskich — białych czy czerwonych — lub iść za głosem takiego patryoty, jakim był np. ks. Hieronim Kaysiewicz, niż słuchać rozkazów zwierzchności. W swych sentymentach bliższymi oni byli ks. Staszyca, niż ks. Skargi. A jednak potrzeba było tylko kilkoletnich rządów ks. Ledóchowskiego, kilkoletniej pracy takiego, jak ks. Koźmian człowieka, przerastającego o całą głowę koryfejów naszego liberalizmu, żeby to duchowieństwo z dążnościami odśrodkowemi zszeregować około tronu arcybiskupiego, jako żołnierzy, wojującego o swą supremacyą w naszem społeczeństwie klerykalizmu. W przededniu tryumfu ks. Koźmiana objął redakcyę „Dziennika“ pan Dobrowolski. Poprzedziła przyjście jego reputacya gorącego patryoty — i człowieka zasad na wskroś liberalnych. Rozpoczęły się na nowo zabiegi o napędzenie duchowieństwa naszego w sieć bardzo mglistego programu liberalnego. Chciano przeciwstawić ultramontanizmowi coś w rodzaju gallikanizmu polskiego; alo zapomniano o tem, że w kilka lat po publikacyi encykliki papieskiej*) z dołączonym „syllabus errorum“, potępiającym ex cathedra „katolicyzm liberalny“, a nawet doktrynę takich katolików wierzących, jakim był hr. Montalambert, wojowanie z ultramontanami w rzeczach karności kościelnej było anachronizmem. Zostały jeszcze po dekanatach niedobitki obozu liberalnego; ale jedna część tych księży, którym „Dziennik“ nie szczędził epitetów: wzoru iście polskiego kapłana-obywatela, składała się z malkontentów, ktorych ambicyi nie zaspokoiła władza kościelna, a druga — chyba z popleczników późniejszych „Wiarusa“, którym nawet wody osieckie nie zmyły grzesków, podpadających cenzurze kościelnej. Po rozpoczęciu „walki kulturnej“ liberalizm dziennikowy był już złamany. Przyglądał się z oziębłością liberała dawnej daty walce kulturnej. Był on za dobrym Polakiem, żeby nie sympatyzować z ofiarami tej walki, jako swymi ziomkami, ale był za mało przenikliwym, żeby dostrzedz wydobywające się na wierzch z odmętu tej walki żywioły ludowe.

Gdy kurz i opara walki zaczęły opadać, przedstawiło się naszemu szlacheckiemu liberalizmowi widowisko obce zupełnie dla niego. Plebania i dwór zmieniły swych lokatorów. Pierwszą zajęli księża ze szkoły ks. Koźmiana, na kruchych fundamentach drugiego zaczęli budować po swojemu własny dom zwolennicy „Orędownika“, naonczas podlegającego wpływom ks. Koźmiana. Odsunięte od wpływów stronnictwo liberalne nie chciało dać za wy-

*) Ogłoszono ją 9 grudnia 1864.

grane. Przedewszystkiem chodziło mu o odebranie pozycyi „Orędownikowi“. Rozpoczęła się znów walka, przypominająca zapasy lisa z jaźwcem o reokupacyą nory. Jakim zaś kosztem swego programu liberalizm zapoczątkował i podtrzywymał tę walkę, o tem w następnym numerze.



POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

Głośny germanizator szlązki ks. Ronczka, sprawca rozwiązania Tow. Oświata, wciąż jeszcze wojuje z „Katolikiem“ bytomskim nie przebierając w najostrzejszych słowach i zarzucając przeciwnikom tchórzostwo, skoro na inwektywy jego odpowiadają milczeniem. „Katolik“ sprawie tej poświęca następujące uwagi w Nr. 28.

„Patrzcie czytelnicy, jak niegodnie lży ksiądz Ronczka „Katolika“ za to, że nie chce z nim kłótni prowadzić. Gdyby się „Katolik“ z nim kłócił, toby wołał, że „Katolik“ walczy z duchowieństwem; gdy zaś „Katolik“ nie chce się kłócić, to go drażni, wyzywa, lży. Poddajemy to postępowanie pod sąd publiczny, pod sąd naszych czytelników, którzy sprawę znają i dobrze wiedzą, co „Katolik“ o niej pisał i jak pisał. Spamiętajcie sobie dobrze, 1) że ksiądz R. zelżył najprzód „Katolika“ o to, że tenże bronił prawa, które ks. R. z pomocą policyi chciał przedziurawić; 2) że ks. R. zelżył powtórnie „Katolika“ za to, że na jego obelgi nie odpowiedział.

Niejeden czytelnik, nie widząc żadnej winy po stronie „Katolika“, nie zrozumie przyczyny, dla czego ten ks. R. tak wojuje z „Katolikiem“? To się łatwo da wytłomaczyć; przy wyborach przed 2 laty był ks. R. jednym z tych, którzy najzawzięciej przeciw panu Szmuli i „Katolikowi“ występowali. Dla tego też od owego czasu sroga złość w nim siedzi na „Katolika“ i z tego powodu przy obecnej okazyi chciał sobie nieco ulżyć. W innych artykułach dał to wyraźnie poznać i ośmielił się twierdzić, że „Katolik“ za nos wodził lud górnoszląski. Wodzenie za nos, to wybory. Znowu się tedy pokazało, że ponieważ „Katolik“ przy wyborach zrobił tak, jak sobie lud życzył, dla tego teraz ks. R. i niektórzy inni, jemu podobni, z „Katolikiem“ walczą. „Katolik“ przetrwa to, jak przetrwał gorsze rzeczy, a na pociechę naszych abonentów, donieść możemy, że mimo wszelkiej agitacyi „Katolikowi“ w tym kwartale przeszło 600 abonentów przybyło.

Ks. R. niech sobie z „filipem“ lub bez „filipa“ dalej pisze, co chce; odpowiedzi od nas już nie dostanie żadnej. Ale skoroby mu znowu przyszła chęć próbować rozbijać towarzystwo polskie za pomocą policyi, wtedy znajdzie nas zawsze w pogotowiu“.

Do *Gazety Gdańskiej* (Nr. 21) donoszą z Kaszub bałtyckich:

„Że nasze Towarzystwo rólnicze w Darzlubiu pomimo 20 lat istnienia swego nie przeżyło się, lecz wzrasta, osądzić możecie ztąd, iż na ostatniem zebraniu przystąpiło aż 9 nowych członków. Zważcie nadto biedę naszą. Zniewoleni jesteśmy potłukiwać się po izbach prywatnych. Polscy oberzyści lękają się nas przyjąć z wiadomej przyczyny; niemieccy radziby nas u siebie mieli — ci nie mają najmniejszej przyczyny się strachać — lecz my z przyczyn jasnych dziękujemy im za ich interesowną gościnność. Nawet i domy prywatne, jako ostatni nasz przytułek, chciano nam zakazać! Skorośmy na zebraniu ostatniem ustanowili, że przyszłe odbędzie się tam lub tam, zjeżdżał z rozkazu p. landrata żandarm, mierzył wysokość, szerokość i długość mieszkania — czy to nie ojcowska opieka nad synami, żeby im za duszno nie było? Meter rozstrzygał! Skoro izba nie miała odpowiedniej miary, odmawiała policya poświadczenia o powiadomieniu o zebraniu! Raz, mogą temu być 4 latka, odpisała nam policya, że nie wolno nam ani w tym, ani w owym domu, ani w bądźkolwiek innym mieć zgromadzenia: „bo nie ma odpowiedniego dla nas prywatnego lokalu w całej okolicy“. — Patrzcie Kaszubi, jak się nad wami znęcają! a wy im tak się podchlebiacie, że stojąc przed nimi, kurczycie się jak marny robak. — Dopiero na zażalenie nasze do rejencyi królewskiej odpisał nam p. landrat z rozkazu tejże: „iż policya się omyliła!“ I wierz „dummer Polak“, że to prawda! Ażeby się w kółku rólniczem ten „dummer“ Polak za bardzo może nie oświecił, nakazano wszystkim sołtysom z kółka rólniczego wystąpić i to w trzech dniach, jak sam taki ukaz z landratury czytałem.

Ku końcowi pewnego zebrania naszego — słuchajcie, ale powstrzymajcie śmiech, żeby wam brzuchy nie popękały — wyjął żandarm spis i z rozkazu — jak mówił — p. laudrata wywołał członków, jak to się w szkole dzieje. Powstało wielkie oburzenie i śmiech. Na co żandarm: „Was lachen die Kerls?“ Na to mu odpowiedziałem: „Oni się śmieją z radości, bo myślą, że pan dla tego wywołujesz, aby się przekonać, kto jest, a kto nie jest na dzisiejszem zebraniu, bo kto jest odbierze, spodziewają się, z landratury markę nagrody“. Myślałem, że okna popękają, taki powstał śmiech i koniec wywoływania! — Widzi Bóg, jak okrutnie się nad nami biednymi Polaczyskami znęcają! Tak się pastwić nad ludem biednym, to już nie wola, lecz krzyczy do Boga o pomstę! Wielka łaska Boska, że Kaszubi jeszcze nie przeszli do obozu socyalistów, będąc zniewalani temi i podobnemi szyderstwami! Lud polski jest bardzo cierpliwym narodem, lecz „dzieci“, „dzieci“ niemieckie, nie igrajcie z ogniem! Czem człowiek grzeszy, tem samem go Bóg karze. Przyszłe pokolenie dzisiejszych Niemców pastwiących się nad nami będzie musiało na sobie grzechy ojców odpokutować!

Na każdem zebraniu Towarzystwa rólniczego (!) bywa żandarm. Dawniej bywało ich czasem aż 2 i powiedziałbyś może: jako odwach bezpieczeństwa dla Rexa — nie bratku: to honorowa straż dla nas Polaków!

„*Dziennik Kujawski*“ (Nr. 40) zamieszcza artykuł następujący pod tytułem: „Obrazek ze szkoły“.

W Miejskiej Górce zawiązało się stowarzyszynie kat. nauczycieli. Na zebraniu wstępnem było ich 13, ale zapisało się na członków tylko 7. Drudzy nie mieli odwagi przystąpić do towarzystwa z obawy przed inspektorem. Jeden z nich przyznał się nawet do tego wyraźnie, mówiąc: „A cóż powie na to inspektor?“

W ogóle żale nauczycieli katolickich, a zwłaszcza polskich na inspektorów nie są nowością. Na całym obszarze ziem polskich pod berłem pruskiem wydobywa się z tysięcy piersi jęk boleści od lat dwudziestu. Jęk ten jest tym boleśniejszy, że nie może się nawet w odpowiedniej formie na zewnątrz ujawnić. Nauczyciele są tak steroryzowani, że ledwie w zaufanych kołach spowiadają się z tego, co im dolega. Zresztą tłumią gorycz w sobie, własnego cienia się lękając.

Czas wielki, żeby rząd nareszcie sprawę tę gruntownie rozstrząsnął i zaprowadził stosunki takie, któreby nauczycielom pozwoliły swobodnie oddychać i czuć się ludźmi. Przecież żyjemy w państwie wysoko ucywilizowanem i w wieku dziewiętnastym, którego cechą ma być uznanie i poszanowanie praw człowieka.

Do czegoż to podobne, gdy nauczyciel drży przed inspektorem jak osowy listek i nie śmie wobec niego mieć własnego zdania? Istnieje rozporządzenie ministeryalne, zezwalające nauczycielom na tworzenie związków katolickich, ale na cóż ono się przyda, jeżeli nauczyciele są przez swych przełożonych do tego stopnia skrępowani, że nie mogą się zdobyć na odwagę, aby z niego korzystać?

Taki okrzyk „a cóż powie na to inspektor“ mieści w sobie bardzo wiele i możnaby cały traktat na ten temat napisać.

Ponure stosunki pochodzą ztąd, że inspektorami są germanizatorowie i protestanci. Niech rząd odda inspekcyą nad szkołami katolickiemi pedagogom katolickim, jak tego słuszność wymaga, to złe zaraz zniknie i nauczyciel przestanie trząść się ze strachu, co z jednej strony wstręt obudza, a z drugiej w rażącej stoi sprzeczności z powagą i zadaniem stanu nauczycielskiego.

„*Orędownik*“ pisze w Nr. 40.

„Szkody, jakie zadała polityka partyi dworskiej powadze duchowieństwa naszego, temu ciepłu religijnemu, którego temperaturę walka kult. u ludności naszej tak wysoko podniosła, są nie obliczone i dopiero później wystąpią one na wierzch. Gwałtowne występowanie niektórych księży za polityką partyi dworskiej skompromitowało ich w oczach ludu. Opinia dość ogólna, że przywódzcą tej polityki, albo że po za tą polityką stoi osoba ks. Arcybiskupa, gnębiła liczne Kościołowi i duchowieństwu naszemu wierne dusze — formalnym uciskiem sumienia. Bo ludzie ci uważali sobie za obowiązek wszędzie zwalczać tę politykę, a równocześnie czuli dobrze, że z musu i konieczności walcząc przeciw niektórym księżom podkopują — wbrew swej chęci i woli — w ogóle powagę duchowieństwa całego, a nietylko tego, które bezmyślnie, tylko na rozkazy „Kuryera“ rzucało się w wir walk politycznych. W końcu doszło do tego, że nie można było żadnego zdania przeciwnego wypowiedzieć bez ryzyka, że „Kuryer Pozn.“, „Wielkopolanin“ i „Dziennik Kuj.“, gdy to uznają za stosowne, ogłoszą je jako — „napaść na Kościół, nawet na dogmaty.“ Partyą dworską zawodziły z kolei wszelkie gatunki broni, dla tego jęła pracować teroryzowaniem sumień katolickich. I ta broń musiała zawieść, a za jej nadużywanie księża przypłacają obniżeniem swej powagi kapłańskiej w oczach ludu.“

„*Goniec Wielkopolski*“ pisze w Nr. 36.

„Kilka słów prawdy nie zawadzi nigdy, byleby wypowiedziane w dobrej wierze i miały ogólne dobro na oku.

Na ostatni sejmik powiatowy w Inowrocławiu (5

MAURYCY MAETERLINCK.

W GŁĘBI.

Dramat w jednej odsłonie

(*dla teatrów maryonetkowych*).

Z francuzkiego przetożył

Zygmunt Bytkowski

OSOBY:

W ogrodzie:		*W głębi:*	
STARZEC		OJCIEC	osoby nieme.
OBCY.		MATKA	
MARTA	wnuczki starca.	DWIE CÓRKI	
MARYA		DZIECIĘ	
WIEŚNIAK.			
TŁUM.			

Stary ogród wierzbami zarosły. W głębi dom, którego trzy okna dolne oświetlone. Widać przez nie dość dokładnie rodzinę przy lampie wieczornej zebraną. Ojciec siedzi w kącie koło kominka. Matka, łokieć wsparłszy o stół, patrzy przed siebie. Dwoje młodych dziewcząt, biało ubranych, haftuje, marzy i uśmiecha się w ciszy komnaty. Z głową złożoną na prawem ramieniu matki, śpi obok niej dziecię. Skoro się które z nich poruszy, podniesie lub przejdzie, wydają się ich ruchy poważne, powolne i jakby uduchowione przez odległość, oświetlenie wieczorne i niepewną szyb przesłonę.

(*Starzec i Obcy wchodzą ostrożnie do ogrodu.*)

STARZEC. Otośmy w części ogrodu, za domem się rozciągającej. Nie bywają tu nigdy. Bramy znajdują się po drugiej stronie. Są one zamknięte, a okiennice założone. Lecz z tej strony nie ma okiennic i widziałem też światło... Tak jest; zebrali się w pokoju przed udaniem się na spoczynek. Szczęście, iż nas nie słyszeli, wyszłaby może matka lub która z sióstr i cóżbyśmy poczęli?...

OBCY. Cóż poczniemy?

STARZEC. Przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, czy wszyscy są w komnacie. Tak jest, widzę ojca siedzącego w kącie przy kominku. Zamyślił się, ręce na kolanach złożywszy... Matka wspiera się o stół.

OBCY. Patrzy na nas...

STARZEC. Nie; ona nie wie, na co patrzy, oczy jej są bez blasku. Nie może nas widzieć, jesteśmy w cieniu rozłożystych drzew, lecz nie zbliżajcie się zbytnio... Obie siostry zmarłej są także w komnacie. Haftują cicho, a małe dziecię zasnęło. Zegar w kącie wskazuje dziewiątą... Nie domyślają się niczego i nie mówią nic.

OBCY. Gdyby można zwrócić uwagę ojca i dać mu znak jaki? Zdaje się patrzeć w tę stronę. Czy chcecie, bym zapukał w które z okien? Może jedno z nich prędzej usłyszy, niż drudzy.

STARZEC. Nie wiem, co wybrać... Należy zachować wszelką ostrożność... Ojciec stary i słabowity... Matka również, a siostry zbyt młode... A każde ją tak miłuje, jak nigdy już kochać nie będą... Nie widziałem nigdzie rodziny szczęśliwszej... Nie, nie, nie zbliżajcie się do okna, byłoby to gorszem, niż wszystko inne. Należy raczej oznajmić im to w jak najprostszy sposób; jakoby najzwyklejsze zdarzenie, gdyż inaczej ból ich chciałby o lepsze walczyć z waszym i straciłby zupełnie miarę... Chodźmy na drugą stronę ogrodu. Zapukamy do bramy i wejdziemy, jakby się nic nie zdarzyło. Ja wejdę pierwszy. Nie zdziwią się, zobaczywszy mnie; przychodzę nieraz, by im kwiatów lub owoców przynieść i kilka godzin z nimi spędzić.

OBCY. Na cóż potrzeba, bym ja wam towarzyszył? Wejdźcie sami, ja poczekam tu, aż mię zawezwą... Nie widzieli mię nigdy... Jestem jeno przechodzeń, jestem obcy...

STARZEC. Lepiej jest nie być samym. Zła wieść, którą się społem przynosi, nie przeraża tak swą nagością i nie gnębi tak swym ciężarem. Myślałem o tem na drodze... Gdybym wszedł sam, musiałbym mówić od pierwszej chwili, wiedzieliby wszystko po kilku słowach i nie miałbym już nic do powiedzenia, a lęk mnie przejmuje, gdy pomyślę o ciszy

2. 95.) zjechało się tylko 3-ech, wyraźnie: trzech Polaków! Uprawnionych zaś do głosowania jest 18-tu, wyraźnie osiemnastu obywateli lub Polek w powiecie! Plenipotencye nadesłało osób sześć; Niemców stawiło się przeszło 30-tu.

Z pięciu Polek uprawnionych do głosowania ani jedna nie nadesłała plenipotencyi, tak, iż Niemcy kpili sobie z patryotyzmu i zmysłu ekonomicznego szanownych Kujawianek.

Kiedy się wspomni, że działo się to właśnie na Kujawach, w jądrze niegdyś polskiego życia Wielkopolski, to żal serce ściska i pyta się człowiek: „Czyż poczucie obywatelskiego obowiązku zupełnie już u Was zamarło, że dobrowolnie naginacie karku przed naszymi wrogami — nie znajdując odwagi do wyrażenia własnych pragnień i życzeń.

Doczekamy się może tego, że Kujawy pierwsze będą świadkiem tryumfu germanizacyi!

Straszna odpowiedzialność!“

Do „*Orędownika*“ Nr. 38 donoszą z Środy.

„W naszem Towarzystwie Przemysłowem zjawił się pewien jegomość, który naraz zaczął dąć w trąbę partyi dworskiej. Obdarzyła go natura obliczem wiecznie uśmiechniętem; na wszystkie sprawy polityczne też się uśmiechał tylko i trzech słów z niego wydobyć nie było można. Nikomu do głowy nie przyszło, żeby go takie sprawy w ogóle obchodziły.

Gdy nastała polityka dworską, ów jegomość stał się nagle głośnym politykiem na Środę i okolicę. Co chwila w ruch ludowy uderzy. Na jednem zebraniu ściął się z nim pewien obywatel, członek Towarzystwa, któremu ów jegomość głos chciał odebrać, że sprawy polityczne wciąga w dyskusyą, choć on pierwszy zaczął.

Niedługo potem zaczęły baby gruchać po Środzie, żeby nikt nie chodził do domu, gdzie ów członek Towarzystwa mieszka, bo dom ten będzie wyklęty — księża mają ten dom niedługo wykląć, a wtedy tam niczyja noga nie postanie.

Dodać muszę, że ten jegomość, to nie ksiądz tylko świecki.

Baby w Środzie wierzą, że niedługo nastąpi klątwa.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Bukowinski Wiedomosty*“, organ partyi staroruskiej takie poświęca uwagi stosunkom panującym wśród Rusinów bukowińskich:

„Nasz naród bardzo biedny, a biedny nietylko dla tego, że wiedzie walkę z głodem, niedostatkiem i biedą, ale i dla tego, że musi walczyć o takie rzeczy, jak język i religią. W naszej konstytucyjnej Austryi, przy naszych ustawach, zaledwie drugi znajduje się naród, któryby potrzebował wieść walkę o każdą literę, ba, o każdy znak, jak Rusini. W naszem stuleciu doprowadziła już wiedza do tego, że tak języka, jak i wiary broni każdy naród i wysoko je ceni. Dla tego też żaden rozumny człowiek nie powinien odmawiać drugiemu prawa mówienia tym językiem lub owym wyznawać tę religię, którą wyznawali nasi ojcowie. Przeciw wierze i narodowości występują w całym świecie złe i przewrotne narody, które chciałyby zniszczyć prawa nadane przez Boga. Przeciw wierze występują u nas socyaliści, nazywający się szumnie radykałami, ale chwała Bogu u nas na Bukowinie oni słabi i dla tego grają rolę dwulicową.

„W kwestyach językowych u nas jeszcze większa bieda. W innych krajach austryackich mają Rusini zupełną niezawisłość. Tam mają jako drugi język krajowy swoje prawa. W Czechach nie znajdziesz urzędu, gdzieby po czesku nie mówiono, tylko w Galicyi wszystko po polsku jak za czasów polskich.

U nas na Bukowinie jeszcze gorzej. Większość urzędników to sami cudzoziemcy, którzy języka ludu nie znają, ale wszędzie mówi się po niemiecku. Z tej racyi musi każdy, choć tego nie potrzebuje, pisać po niemiecku, a urzędy gromadzkie urzędują po niemiecku. Nawet w Bośni i Hercegowinie, które to kraje niedawno przyszły pod panowanie austryackie, większą ma swobodę język serbski, aniżeli my Rusini w Bukowinie.

„Wołosi rozbudzili już poczucie narodowe w swym ludzie, w wielu powiatach rumuńskich piszą już po rumuńsku, ale my na naszej własnej ziemi jesteśmy cudzoziemcami.

„Jest to fakt smutny i bolesny, ale takiemu stanowi rzeczy jesteśmy sami winni, bo własnego języka nie używamy, dobrowolnie się zrzekając praw nam przysługujących.

„Rusin nie pisze po rusku, bo sądzi, że jego język gorszy od innych i uważa się za rasę niższą, upośledzoną.

„Nie tak dzieje się z innymi narodami. Popatrzmy tylko na Polaków. Oni nie tutejsi. Nie ma dowodów, ażeby od dawnych lat Polacy na Bukowinie zamieszkali, a dziś są i mnożą się. Polacy bukowińscy inaczej mówić nie będą jak po polsku. W naszych czerniowieckich restauracyach i kawiarniach, a nawet na ulicach długo trzeba chodzić, zanim usłyszy się ruskie słowo, a po polsku słyszysz wszędzie, jak w Warszawie. Co gorzej, wejdzie Rusinka w służbę do Polaka, nie mówi już po rusku „djakuju“, ale „dziękuję“.

„Nasi nowoerzyści krzyczą, że się rumunizujemy. Nie tak łatwa to rzecz, ale za to polszczą nas Polacy, pod których jarzmo ugięli kark nowoerzyści. Dalej widzimy inne jeszcze niebezpieczeństwo. Dziś okupują się dziedzice Polacy. Razem z nimi przychodzi gromadka polskiej czeladzi; to samo dzieje się z Ormianami zupełnie spolszczonymi. Miejscami stawiają już łacińskie kościoły, kto wie, czy za jakich lat 30 nie będą Polacy żądać dla swego języka równouprawnienia.

„My uznając i oceniając patryotyzm polski nie powinniśmy uważać siebie za niższych, ale z takim samym zapałem praw naszych bronić“.

* * *

Bułgarski dziennik „*Stara Planina*“ rozpisuje się o stronnictwach opozycyjnych w Bułgaryi. Stronnictwo, któremu przewodzi Karawelow, tak charakteryzuje:

„W szeregi opozycyi postawił się i Karawełow, który wyszedł z ciemnicy na mocy ukazu amnestyjnego księcia. Wszyscy spodziewali się po Karawełowie, że wyszedłszy z więzienia wyda do narodu manifest, w którym się oczyści ze zarzutów mu robionych i ustawi program swej przyszłej działalności politycznej. Mimo to nic dotąd w tym kierunku nie zrobił. Oświadczył tylko, że chce wybawić Bułgaryą, że Cankow i Sławejkow niemniej od niego konstytucyę naruszyli, że nie uznaje bułgarskiej inteligencyi, tylko ludność wiejską. Okrom tego nic! Karawełow milczy!

„A dla nas jest rzeczą niezbędną, abyśmy wiedzieli, dokąd chce nas prowadzić. Za owych czasów, kiedy Karawełow był w zgodzie ze Stambułowem i do spółki rządził, pamięta go południowa Bułgarya, gdzie ruch opozycyjny w sposób najbezwzględniejszy stłumił.

„Dziś wszyscy sądzą, że Karawełow z wdzięczności za amnestyą odda się na usługi księcia, a wstąpił do opozycyi jedynie dla tego, że go u rządów nie ma.

* * *

Tomuniecki „*Naszinec*“ pisze o wyborach uzupełniających w powiecie krumlowskiem, gdzie Niemcy dopuszczali się niebywałych nadużyć:

„Przy wyborach uzupełniających do sejmu przeszedł członek stronnictwa liberalnego, pan Rund, li tylko za pomocą fałszerstw, które już wykryto. Wyborcy czescy przeciw tym nadużyciom zaprotestowali, ale protesty te chciała większość sejmu morawskiego, która jest po stronie Niemców jako nieuzasadnione odrzucić. Wyborcy zwrócili się więc do sądów, które w sprawie tej zarządziły śledztwo. Rezultatem śledztwa było, iż więcej aniżeli sto głosów zostało sfałszowanych. Głosy te padły na kandydata czeskiego, lecz zapisano je kandydatowi niemieckiemu. Za fałszowanie dokumentów pociągnęły sądy wiele osób do odpowiedzialności. Poseł pan Rund widział się więc zmuszonym złożyć swój mandat.“

* * *

---

która po ostatnich słowach złej wieści nastąpi... Wtenczas to serce się zakrwawia. Jeśli wejdziemy razem, powiem im naprzykład, po długich wstępach: znaleziono ją tak i tak... Płynęła rzeką, a ręce miała razem złożone...

OBCY. Jej ręce nie były razem złożone; ramiona jej zwisły wzdłuż ciała.

STARZEC. Widzicie zatem, iż mówi się mimowoli... i nieszczęście gubi się w szczegółach. Gdybym wszedł sam, po pierwszych słowach, o ile ich znam, przerażenie wszechwładnieby nad nimi zapanowało i Bóg wie, coby nastąpiło... Jeśli zaś mówić będziemy powoli, od jednego do drugiego przechodząc, słuchać nas zechcą i czasu nie będą mieli oko w oko nieszczęściu spojrzeć. Nie zapominajcie, iż matka tam będzie, i że jej życie na włosku niemal wisi. Dobrze jest, gdy pierwsza rozpaczy fala o słowa błache się rozbije. Potrzeba, by mówiono dokoła nieszczęśliwych i otoczono ich. Najobojętniejsi nawet biorą część ciężaru na swe barki, sami o tem nie wiedząc. W ten sposób rozdziela się boleść cicho i nieznacznie. Jak powietrze i światło.

OBCY. Szaty wasze są mokre, spływa z nich woda po kamieniach.

STARZEC. Spód mego płaszcza jedynie się zamoczył w wodzie. Wam zimno zdaje się. Pierś wasza zawalana ziemią. Nie spostrzegłem tego na drodze w ciemności.

OBCY. Wszedłem aż po pas w wodę.

STARZEC. Czyście ją już dawno przed mem nadejściem znaleźli?

OBCY. Na kilka chwil zaledwie. Szedłem ku wsi, było już późno i w jarze ciemniało. Idąc, miałem oczy na wodę zwrócone, gdyż jaśniejszą była od ścieżki, gdym oto na dwa kroki od pęku sitowia przedemną, coś niezwykłego zobaczył... Zbliżam się i spostrzegam jej włosy, które się jakoby kołem ponad jej głową roztoczyły i tak z prądem wirowały...

(*W komnacie dwoje dziewcząt głowy ku oknu zwraca.*)

STARZEC. Czyście widzieli, jak włosy na ramionach obu sióstr zadrżały?

OBCY. Odwróciły głowy ku naszej stronie... Odwróciły poprostu głowy. Mówiłem, być może, zbyt głośno. (*Obie siostry wracają do dawnej postawy*). Ale teraz już się nie patrzą... Wszedłem w wodę aż po pas i mogłem ją ująć za rękę i wyciągnąć na brzeg bez trudności... Była tak piękną, jak siostry...

STARZEC. Była może piękniejszą... nie wiem, dla czego straciłem całą odwagę...

OBCY. O jakiej odwadze mówicie? Uczyniliśmy, co w ludzkiej było mocy... Od godziny już przeszło nie żyła.

STARZEC. Dziś rano żyła jeszcze! Spotkałem ją, wychodząc z kościoła. Powiedziała mi, że się w podróż udaje; wybierała się odwiedzić babkę, mieszkającą po drugiej stronie rzeki, w którejście ją znaleźli. Mówiła, że nie wie, kiedy ją znowu zobaczę. Chciała zdaje się zapytać o coś, potem straciła odwagę i odeszła nagle. Ale teraz mi to jasne,.. A jam nic nie spostrzegł... Uśmiechała się, jak się uśmiechają ci, co się z czemś tają, lub ci, co się lękają, by się czegoś nie dorozumiano. Zdawała się już nie mieć żadnej nadziei... Jej oczy były bez blasku i nie patrzyły prawie na mnie.

OBCY. Wieśniacy mówili mi, że ją aż do wieczora widzieli nad brzegiem błądzącą. Myśleli, że zbiera kwiaty... Możebne, że śmierć jej...

STARZEC. Kto wie? I cóż tu wiedzieć można? Należała widocznie do tych, co w sobie wszystko kryją, a każdy z nas więcej, niż jeden nosi ze sobą powód do zerwania z życiem... W duszę nie patrzy się tak, jak w tę oto komnatę. Wszystkie one takie... Nie mówią, krom rzeczy zwyczajnych i nikt się niczego nie domyśla... Miesiącami się obok kogoś żyje. co już nie z tego świata i którego dusza już się zawrócić nie da; odpowiada mu się, lecz nie ma podejrzenia i oto patrzcie, co się dzieje... One zdają się, jakoby lalki nieruchome, a tyle rzeczy przechodzi ich duszę... Same nie wiedzą, czem są... I onaby żyła, jak żyją inne. Mówiłaby aż do samej śmierci: „panie, pani, deszcz będzie padał dzisiaj rano“. albo: „idziemy śniadać, będzie nas trzynastu przy stole“, albo też: „owoce nie są jeszcze dojrzałe“. Z uśmiechem mówią o kwiatach, co opadły, a w ciemności łzy

Tygodnik serbski „*Makedonija*", który wychodzi w Białogrodzie i wyłącznie jest poświęcony sprawom serbskim w Macedonii i Staroserbii, gdzie serbska narodowość wypieraną bywa przez Bułgarów, tak się o stosunkach w Macedonii rozpisuje:

„Wszędzie trzymają się Serbowie swojego prastarego obyczaju, dbają o czyste imię i mają w pamięci świetną przeszłość narodową, tylko główny agitator bułgarski, egzarcha w Carogrogrodzie, sądzi o nas Serbach inaczej, nazywając Serbów macedońskich poganami. Jego sekretarz i pomocnik w dziele wynarodowienia Serbów, pan Szopow, chce koniecznie dowieść, żeśmy Bułgarami, a przecież wie dobrze, że staroserbska Prilipa była rezydencyę króla Marka. Bułgarom pomagają obecnie urzędy tureckie, ale my mamy wiarę w sprawiedliwość jego sułtańskiej Mości Abdul-Hamid-Hana II"."

K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ludność Królestwa polskiego.

I.

Nie możemy uskarżać się na brak danych o rozwoju ludności Królestwa Polskiego, chociaż dotąd u nas, jak i w całem państwie rosyjskiem, właściwego spisu ludności nie było. Obliczenia opierają się przeto zawsze na t. zw. księgach ludności i wskutek tego wykazują wciąż te same braki, ale jednocześnie i znaczną jednolitość momentów statystycznych, które uwydatnić można, a więc materyał do porównań niemal za całe stulecie. W. Załęski zebrał ogólne cyfry ludności od r. 1816 aż do 1874, autorowie tacy jak Rodecki, Zawilejski, Wolski, Obruczew, Suworin, dają nam szczegółowszy przegląd ludności za pojedyńcze lata, wreszcie dla roku 1890 i 1893 posiadamy niedawno wydany materyał, opracowany przez warszawski komitet statystyczny według tych samych źródeł i podobnych zasad jak i poprzednie cyfry.

Korzystając z tego materyału, ocenić tedy możemy, jak się rozwijał liczebnie najważniejszy czynnik gospodarczy i społeczny w kraju naszym, jak dzielił się na miasta, osady i wsie w niektórych okresach naszego stulecia, jak zmieniały się liczebne stosunki oddzielnych wyznań, narodowości i płci, jakie było rozsiedlenie i skupienie ludności, względnie do guberni i powiatów. Brak tu przecież wszelkich danych o podziale ludności, co do wieku i zajęć, bez czego ocenić nie możemy ekonomicznej wartości zaludnienia. Trudno nam orzec, czy pomimo względnie szybkiego przyrostu, zwiększa się procent ludności produkcyjnej, a więc w latach, w których ona myśleć może o zaspokojeniu potrzeb własnych, oraz o wychowaniu młodszego pokolenia i przeżywieniu starszego, które już nie jest zdolne do pracy. Co do zajęć istnieją już częściowe lub przybliżone dane, jak np. obliczenia ludności rolnej dla guberni suwalskiej, albo robotników fabrycznych, z czasem zaś spodziewać się można, nawet przy dziś przyjętej metodzie statystycznej, przybliżonych przynajmniej obliczeń dla całego kraju. Podział według wieku jednak przeprowadzić się inaczej nie da, jak przy spisie ludnościowym, gdyż w księgach oprócz urodzeń, zapisywane są również zmiany miejsca pobytu, najpracowitsze przeto obliczenia nie potrafiłyby oddzielić tu ziarna od plewy, a w samej nawet cyfrze ludności omyłek spodziewać się trzeba. Rozpatrzmy przecież materyał posiadany.

Ludność z 1816 r. podaje Załęski na 2,717.287. W 1893 roku wzrasta ona do 8,808,969, czyli przyjąwszy pierwszą cyfrę za 100 podnosi się w ciągu lat 77 do 325, a więc wykazuje wzrost ogromny, znacznie większy od przeciętnej ludności europejskiej w tym samym czasie, jakkolwiek ostatni w stosunku do okresów wcześniejszych wydaje się zastraszającym dla demografów.

W ciągu całego wspomnianego okresu cyfra ludności spadła tylko dwa razy. W 1830 i 1831 roku ubywa 375,631 osób, między 1847 a 1855 zmniejsza się o 193,260, czyli rocznie o 0,4 na 100. Po za tem wzrost ludności Królestwa jest szybki, jakkolwiek podlega wielu wahaniom. Tak np.:

W okresie	1816—1829 r.	przyrost roczny	3,3 proc.
„ „	1831—1846	„ „	1,7 „
„ „	1856—1862	„ „	0,9 „
„ „	1862—1873	„ „	2,4 „
„ „	1873—1893	„ „	1,9 „

Dość rzucić okiem na powyższą tablicę, aby dostrzedz niestałość rozwoju zaludnienia. Są to stosunki właściwe wiekom wcześniejszym od XIX, oraz okresom zmian i niepokojów politycznych, które się wyrażają w niejednakowych odsetkach liczebnego zwiększania się mieszkańców. Jakkolwiek więc szybki wzrost świadczy o żywotności plemienia polskiego, które niemal wyłącznie kraj tutejszy zamieszkuje, zmiany polityczne odbiły się wyraźnie na typie ludności.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na ostatnie trzy lata okresu najnowszego., jako nam najbliższe. Przyrost roczny wynosi w tym czasie 2,2 proc., tak, że zaludnienie z 73,7 osób na wiorstę kw. wzrasta do 78,7.

Co do względnego zaludnienia pojedyńczych gubernii, to w ciągu ostatnich trzech lat nie ulega ono znacznym zmianom. Zawsze 4 gubernie przemysłowe posiadają zaludnienie najgęstsze; najmniejsze zaś gubernie północne, czysto rólnicze; wzrasta ono najszybciej w okolicy dwóch wielkich miast: Warszawy i Łodzi, najwolniej zaś w guberniach czysto rolnych. Według gubernii przedstawiała się ludność w następujący sposób: Na wiorstę kwadratową wypadało głów:

Gubernie	w 1890 r.	w 1893 r.
Warszawska	110,9	122,4
Piotrkowska	101,0	111,9
Kaliska	82,4	87,2
Kielecka	79,0	81,1
Lubelska	67.4	72,1
Radomska	66.9	72,0
Płocka	64,3	66,3
Łomżyńska	56,8	59,2
Siedlecka	53,6	57,3
Suwalska	54,3	55,4

W 1890 r., tedy cztery gubernie miały ludność większą niż średnią, a jakkolwiek owa średnia cyfra się zmienia w 1893 r., stosunek pojedyńczych gubernii do niej pozostaje ten sam, jak poprzednio. Jeżeli zaś porównamy nasze cyfry z temi, które podaje Obruczew dla 1866 r., okaże się, że najwięcej wzrosła znów ludność gubernii przemysłowych, a więc warszawskiej, zwłaszcza samej Warszawy i piotrkowskiej, którą autor powyższy stawia na 6-tem miejscu. Zaludnienie średnie Królestwa zaś było w 1866 r. 47,5 osób na wiorstę kw., wzrasta więc niemal w dwójnasób w niespełna trzydziestu latach.

Różnice zaludnienia odrębnych okolic występują najwyraźniej przy rozpatrywaniu pojedyńczych powiatów. Nie mówiąc już o warszawskim i łódzkim, gdzie nagromadziła się ludność z powodu wielkich miast, najwięcej zaludnione powiaty są te, w których rozwinął się jakikolwiek przemysł. A więc będziński z powodu kopalni (149,6 mieszkańców na 1 wiorstę kw.), błoński dzięki skupianiu się ludności robotniczej w Żyrardowie (102,8 mieszk. na 1 w. kw.) olkuski i miechowski po 90. Jak to już mieliśmy kiedyś sposobność zaznaczyć, skupienie się ludności rolnej nie ustępuje ogółow

---

leją. Aniołby nawet nie spostrzegł, co widzieć należy, a człowiek widzi dopiero, gdy cios spadnie. Wczoraj wieczorem siedziała tu przy tej lampie, jako i jej siostry, i nie patrzylibyście dzisiaj na nich tem okiem, jakiem na nich patrzeć należy, gdyby się to nie było wydarzyło. Zdaje mi się, jakobym ich oto po raz pierwszy widział... Potrzeba do życia codziennego coś dodać, by je módz zrozumieć... One żyją obok was dzień i noc, a ich nie poznajemy, aż w chwili gdy na zawsze odchodzą... A jednak, jakże niezwyczajną duszyczkę nieboga mieć musiała; jakżeż prostą a biedną i och, jak przebogatą zarazem duszyczkę musiało mieć to dziecię kochane, gdy mówiło, co mówić należało — a czyniło, co uczynić musiało!

PBCY. W tej chwili uśmiechają się cicho w komnacie.

STARZEC. Są spokojni... Nie oczekują jej dziś z powrotem...

OBCY. Uśmiechają się nieruchomi... Ale oto teraz ojciec palec do ust przykłada...

STARZEC. Wskazuje na dziecię śpiące u matczynego łona.

OBCY. Matka boi się oczu podnieść, by snu dziecka nie spłoszyć.

STARZEC. Już nie pracują. Wielka cisza nastała.

OBCY. Upuściły na podłogę zwój białego jedwabiu.

STARZEC. Przypatrują się dziecięciu.

OBCY. Nie wiedzą, że i im się przypatrują.

STARZEC. I na nas ktoś patrzy.

OBCY. Podnieśli oczy.

STARZEC A przecież nic widzieć nie mogą...

OBCY. Wydają się szczęśliwymi, a oto, jakże mało się wie...

STARZEC. Zdaje im się, że im nic nie grozi. Zamknęli bramy a okna w żelazne zaopatrzyli zapory. Wzmocnili mury starego domu, u trzech bram dębowych poumieszczali wrzeciądze. Przewidzieli wszystko, co się da przewidzieć...

OBCY. Należy wreszcie skończyć i powiedzieć im... Mógłby im kto jeszcze nagle i nieoględnie to oznajmić. Wielki tłum włościan zgromadził się na łące, gdzie leży zmarła. Gdyby który z nich teraz do bramy zapukał...

STARZEC. Marta i Marya są przy biednej zmarłej. Wieśniacy oddalili się, by sporządzić nosze z gałęzi i liści — a powiedziałem starszej, by mię przybiegła uprzedzić z chwilą, gdy rozpoczną pochód. Czekajmy, aż przyjdzie, będzie mi towarzyszyła. Nie moglibyśmy tak się przypatrywać... Sądziłem, iż przyjdzie jeno zapukać do bramy, wejść spokojnie, zacząć od tego i owego i powiedzieć... Lecz zbyt długom ja już ich tak widział, przy ich lampie...

(*Wchhodzi Marya.*)

MARYA. Idą, dziadku.

STARZEC. To ty? Gdzie są?

MARYA. Są u stóp ostatnich pagórków.

STARZEC. Czy się będą cicho sprawiali?

MARYA. Powiedziałam im, by się po cichu modlili. Marta jest z nimi.

STRZEC. Czy jest ich wielu?

MARYA. Cała wieś jest z nimi. Przynieśli światła. Kazałam je pogasić.

STARZEC. Którędy idą?

MARYA. Bocznemi ścieżkami. Zbliżają się powoli.

STARZEC. Czasu dość...

MARYA. Czyś im już powiedział, dziadku?

STARZEC. Widzisz przecież, żeśmy im jeszcze nic nie powiedzieli. Siedzą jeszcze spokojnie przy lampie... Patrz, patrzże, moje dziecię, zobaczysz coś z życia...

MARYA. Ach, jakże spokojni się być zdają! Myślałbyś, że to senne zjawienie...

OBCY. Uważajcie, widziałem, jak obie siostry zadrżały.

STARZEC. Wstają.

OBCY. Idą zdaje się do okien...

(*Jedna z sióstr, o których mowa, przystępuje w tej chwili do pierwszego okna, druga do trzeciego, przyłożywszy równocześnie ręce do szyb patrzą długo w ciemność.*)

STARZEC. Nikt się nie zbliża do okna środka.

MARYA. Patrzą... Słuchają...

mieszkańców powiatów z wyjątkiem warszawskiego, który pod względem ludności ogólnej zajmuje pierwsze miejsce (492 m. na 1 w. kw.) co zaś do rolnej — trzecie (109,8 m. na 1 w. kw.)

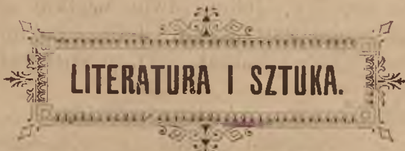
Z nowszych obliczeń tylko ostatnie dzieli ludność na mieszkańców miast, wsi i osad, pozwala przeto ocenić właściwy procent miejskiej. Zaliczyć do niej można niemal powszechnie ludność osad, której skład (znaczna liczba pierwiastku żydowskiego,) oraz zajęcia wskazują charakter miejski. Pod względem skupienia w miastach ludności z 1893 r. porównać można ze stosunkami z 1869, t. j. ocenić zmiany zaszłe w ciągu ostatnich lat dwudziestu pięciu.

Ludność miast i osad w Królestwie wynosiła w 1869 r. 1,530,126 głów, a więc 25,3 proc. całej, w 1893 roku wzrasta ona do 2,377,238 czyli do 27 proc. Ten przyrost 2 na sto ludności miejskiej w porównaniu z innymi krajami Europy, jest powolnym. W Anglii np. ludność miejska wzrastała w następujący sposób: w 1851 r. — 51 proc., w 1881 r. — 59,6 w 1890 — 70 proc. ogółu. We Francyi ludność miast powyżej 20,000 mieszkańców rosła również w znacznie szybszem tempie. Tak n. p. przyjąwszy ją w 1801 r. za 100, w 1836 roku ocenić musimy na 148, w 1866 na 283, wreszcie w 1886 na 358. Ani w Anglii zaś, ani tem mniej we Francyi, stopa przyrostu ludności wogóle nie jest tak znaczną, jak w naszym kraju.

Przecież i ów nieznaczny przyrost wskazuje, że nie możemy uchylić się od ogólnego prawa skupiania się ludności po miastach. Wyłączając osady, dochodzimy do podobnych rezultatów; ludność samych miast stanowiła bowiem 16,6 proc. w 1869 r., a po dwudziestu pięciu latach 18,1. Owo podobieństwo w skupianiu wskazuje znów analogiczny charakter miast i osad. Z gubernii pojedyńczych w obu krańcach rozpatrywanego dwudziestopięciolecia najwyższe odsetki w miastach, wykazuje Warszawa. Ludność miejska (włączając i osady) wynosiła 43,2 i 43,5, a więc wzrosła właściwie tylko ludność miast (z 34,7 do 38,8 na 100), w osadach zmniejszyła się. W gub. piotrkowskiej uwydatnia się to tamo zjawisko, tylko, że tu wzrost ogólny jest zadziwiająco wielki. Z 610 i pół proc. tys. w 25 latach rośnie do 1,209,380, ludność miast i osad zaś od 178 tysięcy do 278,554, a więc jakkolwiek wolniej od ogólnej, przecież z 24,5 na 33 proc. Na trzeciem miejscu stoi gubernia płocka, która przed 25 laty zajmowała jedno z ostatnich. Ludność miejska wzrasta w niej z 12 proc. na 20, co zadziwić musi w gubernii par excellence rolniczej. Zwrócić również uwagę należy na gub. kaliską, w której ludność miejska wzrasta wolniej niż ogólna. Cała ludność zwiększyła się niemal o trzecią część, miejska zaś tylko o 26 tysięcy, a więc prawie o szóstą.

Miasta i osady też, jak się tego spodziewać należało, gromadzą przeważną część ludności niestałej, a więc mieszkańców Królestwa, którzy opuścili miejsce urodzenia. Liczba ich w 1893 r. wynosiła 977,331 11,1 proc. ogółu. Według miejsca zamieszkania stanowią oni 29 proc. całej ludności miejskiej, 6,2 proc. osadn., a 7,1 wiejskiej. Tak więc siła przyciągająca miast znajduje tu ilustracyę, wszędzie bowiem w okolicach miejskich odsetki ludności niestałej są wyższe, niż średnie dla całego kraju. Po za tem na ludność niestałą wywiera jeszcze wpływ bliskości granicy zachodniej, co wyraża się np. w powiecie nieszawskim. Bliższych szczegółów o tych wewnętrznych wędrówkach nie posiadamy, jasnem jest przecież i z cyfr ogólnych, że okres zastoju ekonomicznego już przeszedł, a ludność świadomie dobiera sobie najodpowiedniejsze miejsca zamieszkania.

S. Z. Dański.



LITERATURA I SZTUKA.

WITOLD PRUSZKOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Cały kraj znał ten obraz, jeżeli nie z oryginału, to z pomniejszonej, a więc niedającej dokładnego wyobrażenia, a i tak jednak jeszcze pięknej, reprodukcyi oleodrukrukowej dołączonej jako premium do warszawskich „Kłosów“. Rzeczy tak fantastycznej, tak efektownej nigdy zapewne przedtem na salach wystawy krakowskiej i warszawskiej nie widziano. Ta Eloe z tumanów śniegu, z mgieł i łamań światła stworzone, ten biały śnieg poczerwieniony łuną zorzy północnej, ten pożar chmur, pełen piękna i grozy, były takie piękne, takie wyrwane z krainy czystej fantazyi, że na obraz patrzano, jako na zjawisko niezwykłe, niespodziewane.

Opowiadano, że kiedy Matejko, będąc na wystawie, zatrzymał się przed „Anhellim“, długo mu się przypatrywał, a wreszcie, wobec paru obecnych swoich uczniów, czynił nad nim rozmaite krytyczne uwagi. Skończył rzecz swoją słowami „wszystko to prawda, com powiedział, ale i to prawda, że nie wiem, kto drugi umiałby taki obraz wymalować. Życzę panom serdecznie, aby który z was zdobył się na coś podobnego...“

Twórca „Anhellego“ był już żonatym. Garstce jego najbliższych kolegów i przyjaciół nie wyjdą zapewne z pamięci jego przenosiny w kilka dni po ślubie na Wolę Justowską. Nie wyobrażał sobie miesiąca miodowego, spędzonego gdzieindziej, jak na wsi, zdala od miasta, wśród ukochanego przez siebie ludu. Wynajął przeto chatę włościańską i huczne do niej odprawiał przenosiny. Naturalnie był na tej uroczystości i wójt z Woli i sąsiedni gospodarze, z którymi już zawiązał stosunki i wreszcie kum Łyskacz z Mogiły. Widocznie w tych sferach już go rozumiano, bo panowie „sąsiedzi“ drogę z gościńca do zagrody wysypali makami i bławatami.

Na przenosinach znajdował się i Stanisław Lipiński, najpoetyczniejszy z naszych rzeźbiarzy. Przypominam sobie twarz jego pełną bólu, bladą, zapadłą, z czołem pooranem troskami, z czarną, rozchwianą brodą, z długiemi włosami, w tył spadającemi. Była to głowa prosząca się, aby ją umieścić na pierwszym planie obrazu, przedstawiającego którą z męczeńskich kart naszych dziejów porozbiorowych. Bo też Lipiński i był męczennikiem. Kiedy wybuchło powstanie sprzedał swój mająteczek, za otrzymane pieniądze uzbroił oddział konnicy i ruszył w pole na czele tego oddziału. Nie tu miejsce opisywać udział jego w powstaniu, uczyniłem to zresztą kiedyindziej. Dość, że po kilku miesiącach ciągłych utarczek, schwytany przez Moskali, dzięki jedynie temu, że nie wiedziano, iż był dowódzcą, nie poszedł na szubienicę, ale był zesłany na Sybir, zkąd przywiózł ze sobą zarody suchot. Złożył więc na ołtarzu ojczyzny ofiarę ze swego majątku, krwi i z życia. Jego „Opuszczona“ była jednem z najpiękniejszych dzieł dłuta polskiego i jedyna tylko z rzeźb polskich otrzymała nagrodę na powszechnej wystawie wiedeńskiej 1873 roku. Nie wiem kto jest w posiadaniu prześlicznej jego płaskorzeźby „Głowa Madonny“. „Kalinę“ i „Jaśka“ posiada prof. Henryk Jordan. W Sukiennicach prześliczne jego główki ozdabiają kilka kapiteli. Prawy, zacny, szlachetny, oddany całą duszą sztuce i narodowym ideałom. Kiedym go poznał na przenosinach Pruszkowskiego, zbliżał się powoli ku grobowi. Zmarł w niedostatku w r. 1872, zastawiona w Paryżu za kilkaset franków jego „Opuszczona“ nie przeżyła swego twórcy, nie docze-

---

STARZEC. Starsza uśmiecha się do tego, czego nie widzi.

OBCY. A druga ma oczy pełne lęku.

STARZEC. Patrzcie, człowiek nie wie o niczem nawet w chwili, gdy dusza już około niego się unosi.

(*Długie milczenie. Marya tuli się do starca i obejmuje go.*)

MARYA. Dziadku!

STARZEC. Nie płacz, dziecię moje... i na nas kolej przyjdzie!

(*Milczenie.*)

OBCY. Patrzą długo...

STARZEC. Chociażby nawet sto tysięcy lat tak patrzały, nicby nie zobaczyły, biedne siostrzyczki... Noc zbyt ciemna. Patrzą w tę stronę, a z tamtej oto nieszczęście nadciąga.

OBCY. Szczęście, że w tę stronę patrzą. Nie wiem, co się tam czerni od strony łąk.

MARTA. To zdaje się tłum... Są tak daleko, że ledwie ich widać.

OBCY. Zjawiają się i znikają na fali wzgórz. Oto teraz znów się ukazują na uboczu, połyskującem, jak księżyc.

MARYA. Och! jakże wiele ich się zdaje... Kiedym przyszła, zbiegli się już z przedmieścia. Robią wielkie koło.

STARZEC. Nadejdą mimo wszystko, już i ja ich widzę... Przechodzą właśnie przez łąki. Zdają się tak mali, że ich zaledwie dojrzeć można wśród ziela. Rzekłbyś, dzieci małe, co się bawią przy świetle księżyca: nawet gdyby ich widziały, nie wiedziałyby, co to jest... I cóż im z tego, że odwrócone są od nich, oni zbliżają się przecież za każdym krokiem, nieszczęście przecież rośnie a rośnie od dwu już przeszło godzin. Nie powstrzymają wzrostu jego i ci nawet, co je przynoszą, zatrzymać go już nie mogą. Ono i nad nimi panuje i słuchać go muszą... Ono ma swój cel i drogę swoją... Jest ono niestrudzone i jedną tylko myśl ma. A oni muszą swe siły oddać w usługi. Są pełni smutku, a jednak idą... Litują się, a zbliżać się muszą...

MARYA. Starsza nie uśmiecha się już dziadku...

OBCY. Odchodzą od okien.

MARYA. Obejmuje matkę...

OBCY. Starsza pogłaskała włosy dziecięce a ono się nie zbudziło...

MARYA. O! patrzcie i ojciec chce, by go uściskały.

OBCY. A teraz milczenie.

MARYA. Wracają do matki.

OBCY. A ojciec ściga oczami wielkie wahadło zegara.

MARYA. Rzekłbyś, że one się modlą, nie wiedząc, co czynią.

OBCY. Rzekłbyś, iż się swym duszom przysłuchują

(*Milczenie.*)

MARYA. Dziadku, nie powiedz im dziś tego...

STARZEC. Widzisz i ty tracisz odwagę... Wiedziałem dobrze, iż nie należało im się przypatrywać. Osiemdziesiąt trzy lat już blizko żyję, a oto raz pierwszy widok życia mię przeraża. Nie wiem, czemu mi wszystko, co czynię, tak jest niezwyczajnem, tak wagi pełnem się wydaje. Zebrani przy swej lampie, czekają nocy, całkiem zwyczajnie, jakbyśmy jej przy naszej lampie czekali, a jednak mnie się wydaje, jakobym ich z wysokości innego widział świata, dla tego jedynie, że maleńką jedną znam prawdę, której oni jeszcze nie znają. Czyżby to były moje dzieci? Powiedzcież mi, dla czegośmy tak bladzi? Jestże w tem może jeszcze inna rzecz jaka, której nazwać nie można, a która jednak łzy nam do oczu ciśnie? Nie wiedziałem, że są na świecie rzeczy tak strasznym smutkiem a lękiem na duszę się kładące... I nic zajść nie mogło, czegobym tak się lękał, jak to, że ich tak spokojnymi widzę... Nadto temu światu ufają. Oto siedzą tam od wroga oddzieleni biednemi temi oknami. Zamknęli bramę i myślą, iż nic już im zdarzyć się nie może, a nic wiedzą, iż w duszy wiecznie coś nowego się zdarza i że świat się u bram domu nie kończy... Tak pewni są swego cichego życia, a nie przeczuwają nawet, że tyle innych więcej coś wie o tem i że ja, biedny starzec, oto tu, o dwa kroki od ich bramy, w powiędłych mych rękach, całą ich

kała się marmuru; rozbito ją przy ustawianiu, czy przenoszeniu. Ot! dola rzeźbiarza-artysty co nie umiał się kłaniać i prosić o reklamę, co oddawszy wszystko swemu społeczeństwu otrzymał w zamian zapomnienie...

Powyższy ustęp o Lipińskim wtrąciłem ze względu, że łączyły z nim Pruszkowskiego najserdeczniejsze przyjacielskie stosunki.

* * *

Ciekawym, czy pomiędzy historykami i krytykami naszej sztuki jest ktoś taki, coby notował sobie o ile możności każde dzieło, wychodzące z pracowni naszych artystów. Bez takiego „spisywacza“ trudno będzie z czasem skatalagować utwory polskiego pędzla, dłuta lub ołówka; przepadnie ich większa część w otchłani niepamięci i ztąd będziemy mieli całkiem niedostateczne wyobrażenie o udziale naszym w zakresie twórczości piękna plastycznego. Niejeden prawdziwy klejnot zaginie w braku takiego inwentarza skarbca sztuki narodowej.

Oto i teraz pragnę wyliczyć cały dorobek artystyczny Pruszkowskiego, a czuję to dobrze, iż, pomijając już drobne szkice, portrety, rysunki, pastele, nie będą w stanie objąć pamięcią nawet połowy większych obrazów olejnych Pruszkowskiego.

Odrazu już nie wiem, czy malował jaki obraz za swego pobytu w Monachium. Z krakowskich czasów „Piasta“ i obrazu „Kiedy ranne wstają zorze“, przypominam sobie jedynie głowę Chrystusa, który, nawiasem mówiąc, czynił wrażenie nie Boskiego nauczyciela, lecz jakiegoś potężnego siłą fizyczną i mocą moralną przywódzcę mas ludowych.

Później jest luka w mojej pamięci aż do „Rusałek“, choć parę lat minęło pomiędzy niemi a poprzedniemi obrazami. Obrany temat pojął Pruszkowski całkiem odmiennie, niż artyści, którzy go przedtem dotykali. Był tego zdania, bardzo zresztą słusznego, że malując wierzenia, fantazye ludowe, trzeba na nie patrzeć z punktu wyobraźni ludu, stosując się do pojęć dla niego przystępnych. Więc wśród pięknego, księżycowego wieczoru, w gęstwinie trzcin i szuwarów, ponad któremi wznosił się pień starej, wierzby, torowały sobie drogę nie jakieś wychuchane piękności, półziemskie nagie boginki, o wyidealizowanych kształtach ciała, lecz dwie tęgie, zdrowe, w ukraińskich ubiorach mołodyce, U stóp pierwszej leżała ofiara rusałczanych uroków. Znawcy unosili się nad „Rusałkami“, zwłaszcza nad krajobrazem...

Po „Rusałkach“ musiało pójść parę innych kompozycyi, ale pamięć moja zatrzymuje się dopiero na „Anhellim“. Równocześnie prawie z nim wystawił Pruszkowski „Madaja“. Oba te obrazy pochodzą, zdaje się, z roku 1880. O „Anhellim“ już wyżej wspomniałem, „Madaj“ mimo świetnego malowania nie podobał się. Legendowy pokutnik, z czarnem, jakby porosłem korą ciałem, raził realizmem — za to jabłoń. której owoce zamieniały się w gołąbki, nęciła oko, zdumiewała świetnością kolorytu.

Świetny pejzaż zimowy był na „Wilkołaku“; pejzaż ten był właściwie treścią obrazu, wilkołak tylko sztafażem.

Prześliczne gazy, tiule, kwiaty oblane strugami światła słonecznego, zachwycały widzów w „Janie Kochanowskim przy trumience Orszulki“, ale sam Jan Kochanowski był sztywny, a Orszulka jako trupek zbyt realistycznie pojęta. Jeden z krytyków napisał, że „powiedziałby co o tym obrazie, ale odpycha go on, jako człowieka delikatniejszych uczuć“.

Za to „Umizgi“, wymalowane w roku 1883, pozwoliły patrzeć na siebie nawet ludziom „uczuć delikatniejszych“. Artysta umieścił przy studni dwie wieśniacze postacie: parobka i dziewuchę. w naturalnej wielkości. Umyślnie stworzył sobie wielką trudność, bo trzy czwarte obrazu zajmowała biała, jednostajna swą białością sukmana i ciemno-różowa spodnica dziewczyny. Z tej monotonności barw wyjść zwycięzko, położyć takie dwie wielkie „plamy“, nie nużąc oka patrzących, było zadaniem nie łatwem, któremu jednak artysta sprostał w zupełności.

Zdaje mi się, że zaraz po „Umizgach“ pojawiła się „Sielanka“, jeden z najpiękniejszych obrazów Pruszkowskiego Pod rozłożystą wierzbą pastuszek, leżąc na murawie, grał na fujarce, a dziewczę, wracające z dzbankiem wody, usiadło i słuchało tego koncertu. Akcya bardzo prosta, ale ileż było w niej poezyi, jak ślicznym był krajobraz, co za nieporównany ton w kolorycie zapadającego wieczoru wiosennego! „Anhelli“ imponował wszystkim, „Sielanka“ przemawiała więcej tylko do dusz artystycznych. Sam artysta musiał ukochać „Sielankę“ kiedy jej nie sprzedał, lecz złożył ją w darze swojej matce.

Czystą fantazyą była „Gwiazda spadająca“. Na tle gwiaździstego nieba naga postać kobieca leciała na dół, z głową schyloną ku ziemi. Artysta znowu chciał pokonać trudności, polegające na śmiałych skróceniach ciała. Niejeden pytał: co to jest? lecz zaraz dodawał: ale przecież to piękne, oryginalne, fantastyczne.

Drugą fantazyą była „Wiosna“. Na obrazie były dwa pejzaże i dwie postacie kobiece. Wśród zimowego pejzażu zarysowała się martwa, jakby ze śniegu i lodu ulepiona postać „zimy“ tającej, topniejącej pod silnemi promieniami słońca, padającemi jej na twarz. Nagle ten zimowy pejzaż przemieniał się w wiosenny, pełen woni, kwiecia i zieloności, na którego tle młoda dziewczyna, o ciele jędrnem, świeżem, tchnącem młodością, rzucała ciekawie na świat oczami wesołemi, upajała się życiem, powietrzem, przeczuciem zbliżającej się rozkoszy. Była to „Wiosna“, wyszła z kolebki kwieciem umajonej.

„Sen na kwiatach“ wywołał silne zarzuty. Artysta, lubujący się w trudnościach nie wyszedł tu z nich zwycięzko. Na całej masie płatków różanych leżała naga postać dziewczyny. Artysta przerachował się; na takiem tle można było namalować ciało fantazyjne w ruchach i kolorycie, ale niedokładne studyum, z rzeczywistą karnacyą i to z modelu nieszczególnego, Dziewczyna była szarą plamą na wspaniałem tle róż, które wyglądały jakby żywe, woń roznoszące dokoła. „Tak świetnie malowanych kwiatów nigdy nie widziałem“ — mówił mi jeden z dobrych, a niezbyt zapalających się artystów.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JERZY BRANDES.

Powieści Björnsona.

Stosunek Björnstjerne-Björnsona do swej ojczyzny jest jedynym w swoim rodzaju w całym świecie literackim Europy. Nie jest on dla niej wcale poetą wyłącznie, lecz owszem uważa się za jej przedstawiciela i nauczyciela.

Najwięksi powieściopisarze Francyi: Zola i Daudet są malarzami — malarzami o przepięknym stylu. Jeden z pierwszorzędnych młodszych pisarzy Francyi gardzi kreśleniem obrazów, oddając się całkowicie zgłębianiu i analizie psychicznej najwyżej pod względem rozwoju umysłowego stojących osobników swego społeczeństwa. Björnson opisuje i zgłębia. Ale przedewszystkiem poucza i wychowuje i tem się różni od Daudeta, którego natura najbardziej pisarzom północnym jest pokrewną.

Björnson oddaje się swemu powołaniu duszą całą. Nie jest zimnym pedagogiem, jest raczej wielkiem czującem sercem, które inne serca wychowuje. Nawet w swych powieściach uważa się więcej za spowiednika, niż za powieściopisarza swego ludu.

By go lepiej zrozumieć, należy pamiętać,

---

szczęścia odrobinę, jak ptaszę trzymam chore, dłoni otworzyć nie śmiąc.

MARYA. Miej litość, dziadku...

STARZEC. My litość nad nimi mamy, dziecię, ale nad nami nie masz litości...

MARYA Powiedzże im to jutro, dziadku, powiedz im to za dnia, przy świetle, nie będą tak zgnębieni.

STARZEC. Masz może słuszność, moje dziecię... Lepiejby może było zaniechać tego wszystkiego po nocy. I światło jest osłodą w boleści... Lecz cóż nam powiedzą jutro? Nieszczęście zazdrosnym czyni i ci, których nawiedziło, chcieliby o niem wcześniej wiedzieć, niż obcy. Nie lubią, by ich w niewiadomości pozostawiano... Wyglądałoby, jakobyśmy kradzież na nich popełnili.

OBCY. Nie ma już zresztą czasu, słyszę głuche szmery modłów...

MARYA. Nadchodzą... są już koło płotów.

(*Marta wchodzi.*)

MARTA. Otom jest. Odprowadziłam ich aż dotąd. Kazałam czekać na drodze (*słychać krzyki dzieci*). Och, dzieci wciąż krzyczą. Zabroniłam im iść z nami.. Lecz napierały się koniecznie widzieć także... a matki mnie słuchać nie chciały... Pójdę do nich... Nie, już się uspokoiły. Czy wszystko gotowe? Przynoszę małą obrączkę, którą u niej znaleziono.-. Mam także trochę owoców dla dziecka... Samam ją ułożyła na noszach. Wągląda, jakby spała... Miałam niemało kłopotu z włosami, nie chciały mię słuchać... Nazbierałam stokrotek... Ach, smutno, że nie było innych kwiatów... Cóż tu robicie? Czemuż nie jesteście u nich? (*Patrzy przez okna.*) Nie płaczą?... oni... wyście im nie powiedzieli?

STARZEC. Marto, Marto, zbyt wiele życia w twej duszy, nie możesz pojąć...

MARTA. Czemużbym nie mogła pojąć? (*Po chwili milczenia, z bardzo silnym odcieniem wyrzutu*). Więceś się nie zdobył na to dziadku?

STARZEC. Marto, ty nie wiesz....

MARTA. Więc ja im powiem.

STARZEC. Zostań tu, moje dziecię, i przypatrz im się przez chwilę.

MARTA. Och, jacy oni biedni! Nie można ich dłużej tak zostawić!

STARZEC. Dla czego?

MARTA. Nie wiem... lecz to niemożliwe.

STARZEC. Chodź-tu, moje dziecię...

MARTA. (*odwracając się*). Gdzieżeś dziadku? Ja cię nie widzę, och, jakżem ja nieszczęśliwa. Sama nie wiem, co począć?

STARZEC. Nie patrz już na nich, dopóki się wszystkiego nie dowiedzą.

MARTA. Pójdę z tobą..,

STARZEC, Nie, Marto, zostań tu... usiądź sobie przy siostrze, tam na tej starej ławie kamiennej pod ścianą i nie patrz już... Tyś za młoda, nie umiałabyś zapomnieć... Ach, ty nie wiesz, co to jest twarz w chwili. gdy śmierć przed oczyma staje... Usłyszysz może krzyki... Nieodwracaj się... Może nic nie usłyszysz... Tembardziej nie odwracaj się, gdybyś nic nie słyszała... Nie można pochodu boleści przewidzieć... Ciche, urywane łkanie ze ściśniętej piersi się dobywające i oto wszystko zwykle... Ją sam nie wiem, co pocznę, gdy je usłyszę... Nie z tego to już życia... Uściskaj mię, dziecię, zanim pójdę. (*Szmery modłów zbliżyły się stopniowo. Część tłumu wtargnęła do ogrodu. Słychać, jak biegną cichemi kroki i szepcą*).

OBCY. (*do tłumu*). Zostańcie tu... nie zbliżajcie się do okien... Gdzie ona?...

WIEŚNIAK. Kto?

OBCY. Inni... ci co ją niosą?..,

WIEŚNIAK. Nadchodzą aleją, co do bramy prowadzi.

(*Starzec oddala się. Marta i Marya usiadły na ławie, odwrócone od okien. Głuche gwary wśród tłumu).*

OBCY. C...yt... bądźcie cicho.

(*Większa z dwojga dziewcząt wstaje i idzie zaiożyć wrzeciądze*).

MARTA. Czy otwiera bramę?

OBCY. Przeciwnie, zamyka ją.

MARTA. Czy dziadek wszedł już?

OBCY. Nie... Ona wraca i siada przy matce... inni nie ruszają się, a dziecię śpi ciągle.

(*Milczenie*).

MARTA. Siostrzyczko moja biedna, podaj mi ręce...

co następuje: trzy główne typy dadzą się rozróżnić śród umysłów twórczych nowszej sztuki i literatury. Pierwszym, najrzadszym, może najszlachetniejszym typem jest umysł, którego hasłem najprzedniejszem jest jego własny rozwój. (Leonardo, Michał Anioł, Goethe.) Drugi typ to ci, którzy przedewszystkiem jakiekolwiek, wielkie co do rozmiarów, czy małe, ale pomnikowe dzieło stworzyć i pozostawić pragną („Robinson Kruzoe“, Paweł i Wirginia“, Piotr Schlemihl“, „Miłość bez pończoch“). Trzecim typem, są ci, którzy przedewszystkiem o dobroczynny skutek swego dzieła się troszczą. Wielkim takiego typu przykładem jest Wolter. Sądzę, iż gdyby Björnsona spytano, coby za większe poczytywał szczęście, czy wielkie pomnikowe dzieło po sobie pozostawić. czy też lud swój jako swe dzieło na dwa razy tak wysokim stopniu rozwoju, jak ten, na którym go zastał, potomności oddać — niewątpliwieby to drugie wybrał.

Umysłom do pierwszego typu należącym, którym własny rozwój najprzedniejszym jest celem, sprawia tworzenie dzieł dla potomności przykrość. Jakże długo biedził się Leonardo nad „Jokondą“. Jakżeż wiele rzeźb Michał Anioł w pół pracy porzucił? Ileż razy Goethe „Egmonta“ i „Ifigenię“ przepisywał? Nad „Faustem“ 60 lat pracował. Do tego typu należą w naszym czasie niektórzy z Francuzów, jak Bourget.

Jakżeż innym jest Zola. Nie czyni nic dla swego rozwoju. Widzi jeno swe dzieła, nie ma żadnej myśli, jak: dzieło to jak najpotężniejszem uczynić. Ono ma świadczyć o nim, przemawiać za nim, ono, dzieło — l'oeuvre.

Dla umysłów trzeciej kategoryi sztuka jest jeno jednym ze środków wpływania na lud swój. Do nich należy Björnson, nie Daudet. Ten wzruszał początkowo. Żaden z Francuzów nie uderzał w tak delikatne struny, jak on. Nie masz u niego ni śladu tej surowości, która częstokroć wielkim mistrzom jest właściwą. Istotą jego był zawsze wdziek, który wielu duńskich pisarzy naśladować usiłowało, a kilku tylko osiągnęło. Był mistrzem w sztuce wyciskania łez czytelnikom i równym w sztuce pobudzania ich do śmiechu. Miękki a czuły, nie przedstawia nam rzeczy wstrętnych nigdy inaczej, jak ze strony komicznej. Mimo to zdradza w obrazie swego ludu, jaki nam daje — niemało odwagi. Przypomnijmy sobie jeno „Numę Roumestana“, dobosza prowensalskiego, lub humorystyczną, a jednak dla próżności narodowej tak nielitościwie charakterystyczną opowieść o Tartarinie z Taraskonu. Słowo, które go najznakomiciej cechuje, to francuzkie: *werwa*. Oznacza ono wewnętrzne źródło, ogień, polot i płomienną wymowę. On żyje wraz z swemi postaciami, opowiada je ciągle ponownie, nim do pisania siądzie. W tem jego, że tak rzeknę, aktortwie, mieści się jego do Björnsona podobieństwo. Staje się łatwo sentymentalnym i drwiącym, chwali i gani swe postacie i niezawsze umie ukryć się po za swą powieścią. Początkowo mieszał nawet postacie logiczne z rzeczywistemi lub przemawiał do przedmiotów nieżyjących, do roślin i zwierząt. Tem przypomina wielce pisarzy angielskich i północnych.

Zaczął z umysłem dziecinnym. Proszę czytać w „La petite chose“ słowa pożegnania: „Rzekłem do platanów: bywajcie mi zdrowi, drodzy moi przyjaciele! A do strumyków: skończyło się, nie będziemy się już widzieli! W ogrodzie było drzewo granatowe, którego czerwone kwiecie w słońcu gorzało. Łkając, rzekłem mu: dajże mi jeden z twych kwiatów, a ono mi go dało. I schowałem go na piersi na pamiątkę po drzewie“. Francuzi zwą to pieszczotliwością, świadectwem miękkiego serca i dziecinnej wyobraźni. Lecz nie dosięga ono podobnych rysów na północy.

W „Ragni“ („Bożą drogą“) czytamy: „Naprzód rzekli wszyscy: Tam w las ją coś ciągnęło, tam do paproci i storczyków leśnych, co się dlatego jeno pewnie tak głęboko schowały. I oto teraz stała tam śród nich, śród bratków, w wielkiem kole rodzinnem. Wszystko czekało na nią, wszystko pragnęło ją widzieć...“ W ten sposób jeszcze całe piętnaście wierszy a potem: „— Czekaliśmy ciebie. Tu wszechmożny czar tajnego zacisza wszędy panuje“. — „Ach słuchajcież mnie!“ „Bądź dobrą!“ — „To jeszcze może rzecz jedyna, do którejbym się zdała. Ale gdyby inni nie...“ — „Niechaj inni czynią, co im się podoba. Ty jeno, ty bądź dobra!“ „Teraz poznała dopiero, że się uwieść dała, poznała, kto był silniejszym, ona, czy bratki“. Widzimy tu formalny dyalog pomiędzy ludźmi i roślinami. Jest w tem myśl przepiękna: potęga uroku leśnej ciszy i samotności. Wykonanie wprawdzie grzeszy nieco rozwlekłością. Przypomina ono bajki Andersena. Ale na północy nie razi to w powieściach. Ślady dziecinności, które w młodym Daudecie znajdujemy, u naszego autora, aż po za granicą starości się utrzymują.

U Daudeta widzimy często gorące współczucie dla słabych, młodych kobiet, w bardzo sentymentalnych wyrażeniach się przejawiające. („Mała Delobelle“). Ale nigdy nie czyni on wrażenia poety rozentuzyazmowanego dla swej postaci kobiecej, jak Björnson w „Ragni“. Björnson każe dorosłym mężczyznom popadać w przesadę i dziecinną afektacyę, gdy o Ragnie mówić im przychodzi: „Rendalen był dnia tego w dobrym humorze i mówił, że w jej grze mało jest siły, za to śpiewność i dziwny jakiś wdziek a czar niezrównany. Kalen koniecznie chciał wiedzieć, jak wygląda — „Głupio wygląda!“ krzyknął, Boże odpuść m głupio. Czoło mogłoby ją ocalić, lecz ona zakrywa je włosami. Powiedziałem jej to; precz z niemi, rzekłem. I oczy ocaliłby ją mogły. Ale nigdy nie widziałem nikogo, coby się tak swych oczu wstydził, jak ona. Czyż ma je — istotnie? (Nieco naiwne pytanie). Wielki Boże, i jakie jeszcze! Nie takie, co unisono śpiewają, lub co najwyżej dwoma głosy. Z jej oczu promienne płyną akordy. Gdy je podniesie podczas twej gry, zobaczysz to. Zwykle bowiem wzrok jej nóg stołu się czepia, w kąty się wwierca, lub piec rozpala. Czasem po ścianach wysoko się wspina, jak szczur, co się wydobyć nie może“. Rzadko który młody norwegczyk tak się wyraża. Zda się nam, jakobyśmy widzieli poetę dokoła tej młodej postaci kobiecej w zachwycie skaczącego, jakobyśmy słyszeli jego krótkie, liryczne, radosne okrzyki. O tyle więcej sentymentalności znosi dyalog w powieści północnej, aniżeli w francuskiej. Bo miejsce to najzupełniej nikogo nie razi, tak iż przypuszczać należy, że właściwości narodowej i smakowi odpowiada. I to właśnie jest tu znamiennem. Gdy we Francyi młody pisarz zbyt jest słodkim, natychmiast publiczność i krytyka chórem zawołają [illegible] łagodność ta i słodycz, bardzo dobre to rzec[illegible] ale nabierz sił, stań się mężem, pozbądź [illegible] sentymentalizmu. Jakże inaczej na pó[illegible] Publiczność i krytykę razi nieczułoś[illegible] nie umieją pojąć dumy pisarza, co [illegible] w sobie tłumi, chcą widzieć łzy [illegible] lub mokrą przynajmniej chust[illegible] otrząsnąwszy się z sentymentali[illegible] tite chose“ dochodzi do męż[illegible] „Królów na wygnaniu“ i „S[illegible] szego jego dzieła, wzorowego [illegible]

Björnsona wielkie opowia[illegible] powieściami, ile raczej epopej[illegible] się nieprzejrzystością epopei. [illegible] pozycya zawsze jasna; jest on [illegible] dem prawdziwym latynem. Przyj[illegible] wstęp w „Safonie“, gdzie bohater[illegible] młodzieniec wnosi po wschodach. Na [illegible] piętro wbiega za jednym rozmachem, bez [illegible] tchnienia! Nagie ramiona. co mu szyję oplotły, rozkosznym go przejmują dreszczem. Na drugie piętro wspina się powoli, żadnej nie czując przyjemności. Brzemię zaczyna mu ciężyć, czuje ciśnienie bransolety metalowej, w ciało jego się wrzynającej. Wstępując na trzecie piętro, stęka, jak ktoś, co fortepian dźwiga i choć ona rzekła: jakżeż mi błogo! — ostatnie stopnie zdały mu się być straszną, nieskończoną wężownicą. Nie niósł już kobiety, lecz coś

MARYA. Marto!...

(*Obejmują się i całują*).

OBCY. Musiał zapukać... Podnieśli głowy równocześnie... Patrzą na siebie...

MARTA. Och! Och, siostrzyczko moja biedna... Ja także muszę krzyknąć!...

(*Tłumi swe łkanie na ramieniu siostry.*)

OBCY. Musiał jeszcze raz zapukać... Ojciec patrzy na zegar... Wstaje.

MARTA. Siostro, siostro moja. Ja muszę tam wejść także... Nie można ich tak samych zostawiać...

MARYA. Marto! Marto!...

(*Zatrzymuje ją*).

OBCY. Ojciec jest u wejścia... Odsuwa wrzeciądze... Otwiera całkiem spokojnie...

MARTA. Och!... Czy nie widać...

OBCY. Czego?

MARTA. Ludzi z noszami...

OBCY. Odchylił drzwi zaledwie... Widzę tylko kawałek kląbu i wodotrysk... Nie puszcza drzwi z rąk... Cofa się... Wygląda jakoby mówił: „Ach, to wy!...“ Wzrusza ramionami... Zamyka drzwi starannie... Wasz dziadek wszedł do komnaty...

(*Tłum zbliżył się do okien. Marta i Marya podnoszą się najprzód na wpół, następnie zbliżają się także w serdecznym splecione uścisku. Widać starca wchodzącego do komnaty. Obie siostry zmarłej podnoszą się, matka wstaje również, ułożywszy wprzód starannie dziecię w krześle, na którem siedziała, tak, że z zewnątrz widzieć można dziecię śpiące z główką pochyloną nieco, na środku pokoju. Matka idzie na spotkanie starca i wyciąga ku niemu rękę, lecz cofa ją, zanim ten miał czas ją ująć. Jedna z dziewcząt chce zdjąć gościowi płaszcz, druga podsuwa mu fotel. Lecz starzec czyni ruch odmowny. Ojciec uśmiecha się z wyrazem zdumienia na twarzy. Starzec spogląda ku oknom*).

OBCY. Nie ma odwagi powiedzieć im... Patrzy się na nas...

(*Gwar wśród tłumu*).

OBCY. C...yt!...

(*Starzec, spostrzegłszy twarze u okien, odwrócił nagle oczy. Gdy mu jedna z dziewcząt ciągle jeszcze fotel podsuwa, siada wreszcie i prawą ręką kilkakrotnie czoło pociera*).

OBCY. Usiadł...

(*Inne osoby w komnacie siadają również, a ojciec mówi żywo. W końcu starzec otwiera usta, a na dźwięk jego głosu, wszyscy zdają się jakby poruszeni. Ale ojciec mu przerywa. Starzec następnie mówi znowu, a w miarę tego inni nieruchomieją. Nagle matka zadrżała i powstała*).

MARTA, Och! Matka zaczyna rozumieć!..

(*Odwraca się i kryje twarz w dłoniach. Ponowny gwar w tłumie. Tłum poczyna się tłoczyć. Dzieci krzyczą, by je podnieść, chcąc także widzieć. Większa część matek czyni to*),

OBCY. C...yt!... Jeszcze im nie powiedział...

(*Widać jak matka z trwogą pyta starca. Ten wypowiada jeszcze słów kilka, następnie nagle wszyscy się zrywają i zdają się go zasypywać pytaniami. Wtedy on głową czyni lekki znak potakiwania*).

OBCY. Powiedział im nagle!...

GŁOS WŚROD TŁUMU. Powiedział!... Powiedział!...

OBCY. Nie słychać nic...

(*Starzec wstaje [illegible] również i, nieodwracając się, [illegible]uje palcem na drzwi po za sobą. Matka, ojciec i obie siostry rzucają się ku tym drzwiom, tak że ojciec nie może ich natychmiast otworzyć. Starzec usiłuje zatrzymać matkę*).

GŁOS WŚROD TŁUMU. Wychodzą! Wychodzą!...

(*Tłum tłoczy się w ogrodzie. Wszyscy biegną ku drugiej stronie i znikają z wyjątkiem obcego. który przy oknach pozostaje. W sali drzwi otwierają się na oścież; wszyscy wychodzą równocześnie. Widać niebo gwiaździste, trawnik i wodotrysk w miesięcznem oświetleniu, podczas gdy na środku opuszczonej komnaty dziecię dalej śpi spokojnie w krześle poręczowem. Milczenie*).

OBCY. Dziecię nie zbudziło się!...

(*Wychodzi również*).

KONIEC.

okropnego, co go dławiło, coby najchętniej z odrazą zrucił z siebie. Ustęp ten kończy Daudet słowami: „W wnoszeniu tem na wschody o wczesnym ranku, mieściła się i zawierała cała ich historya“. Co za iście latyńska prostota, co za surowa, szematyczna nagość! W porównaniu z dziełem podobnem, zda się powieść Björnsona nieprzebytą gęstwiną leśną. Björnsona utwory rozrastają się szeroko, a bujnie, nietylko dlatego, iż lira jego dziewięciostrunna, lecz i dzięki jego olbrzymiej pamięci. Pamięć jego przechowuje wiernie wszystkie owe drobne szczegóły, które życiem utwór obdarzają.

Daudeta „Safo“ — to dzieło sztuki samoistne, a razem jednak i utwór pedagogiczny. Björnsona powieści mają charakter czysto pedagogiczny. Pierwsza zajmuje się prawie wyłącznie wychowaniem, a drugie są wprost poematem dydaktycznym. Jest to protest przeciw moralnemu i teologicznemu fanatyzmowi.

Dwa poglądy życiowe są tu sobie przeciwstawione: czysto ludzki, który w pracy dla drugich cel swój upatruje i religijnie ograniczony, który inaczej myślących ustawicznie potępiać musi, swych własnych zwolenników tem unieszczęśliwiając. Jest to książka dla ludu, nie dla tak zwanych wykształconych. Na nich wpływu nie wywiera.

Jako utwór polemiczny, przeciw wierze [illegible] dogmaty wymierzony, przyznaje, rozumie się, [illegible]ze tylko jej przeciwnikom słuszność. Półkultura nie stoi jeszcze na tej wyżynie, [illegible] się odważyć na wprowadzenie na [illegible]i ateistycznej tak komicznej, jak [illegible] Madame Bovary“. W społeczeń[illegible]iętem, jak Francya, można swo[illegible] bez obawy zaszkodzenia tem [illegible] Mimo to i walka przeciw do[illegible] się wyzyskać artystycznie: [illegible] jednak tego nie widzimy. [illegible]zi tu o poznajomienie czytel[illegible]owszych badań teologicznych. [illegible] zajmuje, gdyż jest już nawet [illegible]to taranem w obronny mur [illegible] zajęciem, lecz gdy kto z nim [illegible]ynie bieży — przestaje nas to na[illegible]zajmować.

[illegible]ozą drogą“ jest to powieść zwana u [illegible]cuzów powieścią à these. Chodzi tu o wpojenie czytelnikowi pewnych zdań. Lecz prawdy te, niestety, nie są nowe. Nadto, wszystko tu ab ovo się poczyna. Ma być przeprowadzony dowód, że można zerwać małżeństwo, a jednak porządnym być człowiekiem. Małżeństwo tedy wprowadzone na scenę musi być wszelkiej pozbawione wartości. Widzimy męża, trupa raczej aniżeli żyjącego człowieka, do tego przez chorobę płciową mocno zniszczonego. W przeciwieństwie do niego jest nieszczęśliwa jego żona dziecięciem siedemnastoletniem, niewinnem i t. d. i t. d. Kochają się tedy z Rendalem. By w niczem czytelnika nie urazić, stara się poeta, by kochankowie, przed zawarciem nowego małżeństwa, nadto do siebie zbliżyć się nie mogli. Morze musi tedy stanąć pomiędzy nimi. A mimo to musi ich ciasne otoczenie potępić. Prześladowana nielitościwie przez wszystkich, młoda kobieta ginie w walce nierównej. Gdyby jakikolwiek, acz mały błąd popełniła, a poeta jej mimo to bronił, nie mielibyśmy obrazu z taranem przeciw pajęczynie idącego; lecz nie! Oszczercy tem brutalniejszemi wydać się mają, im czystszą jest niewinność pary bohaterów. Równocześnie atoli muszą i oszczercy być z natury swej i dobrzy i czyści i szlachetni. By potworność fanatyzmu w całej jego grozie nam się przedstawiła, widzimy ludzi uczciwych przezeń opętanych. Równocześnie musi być wykazaną wyższość nowych prądów. Dlatego naukowe poglądy na życie, w Kallenie uosobione, zawsze muszą zwyciężyć. Wszystko mu się więc udaje. Takiego szczęścia najgienialniejszy nawet nie zna operator. Do tej pedagogii przyłącza się uczoność na wszystkich polach, nieznośna prawie. Ile imion botanicznych, jaka dokładność wszędzie!

A jakiż skutek tego wszystkiego? Poprostu ten, iż czytelnik nie otrzymuje wrażenia prawdy życiowej. Autor czerpie wprawdzie z życia, ale w wykonaniu zawsze ma na oku poucenie swego ludu. A jednak życie większe ma znaczenie niż nauka. Dlatego najpiękniejsze są owe ustepy, które z nauką nic wspólnego nie mają.

Tutaj, równie, jak w „Leonardzie“, lub „Królu“ fanatyzm zabija dobrą sławę kobiety, która nic nie zawiniła. Do pięknej tej myśli wraca Björnson ciągle.

I „Król“ jest utworem czysto pedagogicznym. I w nim mało prawdy życiowej. Proszę porównać z nim delikatny, dowcipem tryskający list Milli Engelsa do Nory w „Det flager“. I w nim widać tendencyę, ale ile przytem prawdy? Podobnej doskonałości w „Bożej drodze“ nigdzie nie znajdujemy.

Jako przeciwieństwo do „Króla“ Björnsona, proszę przypomnieć sobie Daudeta „Les rois en exil“. Tu wierzymy w to, co czytamy, gdyż czujemy, że sami byśmy w tych warunkach to samo uczynili. Bo innej miary nie mamy. Utwór wtedy czyni wrażenie rzeczywistości. A tego nigdy nie otrzymujemy, gdy poeta moralizować pragnie.

Powieściom Björnsona szkodzi jego pedagogiczna działalność. A jednak dlatego samego już warto przypatrzyć mu się, jako powieściopisarzowi. Że z powieściopisarza stał się pedagogiem, to sprawiły jego usposobienie i klimat ojczysty. Przejawia się ta sama natura, która w jego licznych artykułach gazeciarskich się przebija, która go prze do zabierania wszędzie głosu.

Björnson dopiero późno i jak mi się zdaje, niechętnie powieści pisać począł. Przypominam sobie, że gdym go przed dziesięciu laty do tego namawiał, wyraził się bardzo źle o tej formie twórczości; nienawidzę jej — powiedział — nigdy jej nie użyję. Później zmienił swe zdanie.

Ale aczkolwiek się z tego okazuje, iż zbyt wiele w nim jest wychowawcy jak na dobrego powieściopisarzą, nie uwłacza to atoli w niczem jego sławie poetyckiej. Że jako piewca, odnowiciel języka, malarz jest poetą pierwszorzędnym — nie ma potrzeby wspominać dopiero; że jako przedstawiciel nowych prądów, jako umysł do prawdy się rwący i sprawiedliwości swego rodzaju — wiele zdziałał, nie uznają wprawdzie wszyscy, lecz jest to niemniej niewątpliwem. Właśnie ten zapał i poświęcenie się dla dobrej sprawy szkodzi jego powieściom.

Okazał się on od pierwszego swego występu na polu literackiem najbujniejszą siłą twórczą pomiędzy północnymi poetami tak jak Ibsen najoryginalniejszą, Jakobsen najbarwniejszą i najwdzięczniejszą, Strindberg najciętszą, tak ostrą, iż się szczerbi. Björnson zajmuje miejsce pierwsze przez bogactwo i pełnią swej twórczości. Wielkie te zalety czerpie on w swej naturze. Błędy zawdzięcza swemu otoczeniu. Sztuką swą wszystkich zarówno chce ująć. Jest zarówno demokratą jak artystą. Chce przez wszystkich być zrozumianym, wszystkich wychowywać. Ale by tego dokonać, trzeba się koniecznie do swego otoczenia dopasować. Gdy ono stoi nisko, nie może się dzieło sztuki wznosić zbyt wysoko; bo lot jego obniża cel, do którego dąży.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków 20 lutego.

(*Nowy biskup. — „Bene nati“ Orzeszkowej na scenie. — Pomnik Mickiewicza*).

Ubiegłe dwa tygodnie były tygodniami ks. biskupa Puzyny. Następca ks. kardynała Dunajewskiego na tronie biskupim krakowskim przybył do nas 7go lutego o godzinie 2 i pół po południu. Na peronie kolejowym oraz w sali pierwszej klasy oczekiwało swego pasterza przedewszystkiem całe prawie duchowieństwo, tak świeckie jak i zakonne, dyecezyi krakowskiej. Prócz duchowieństwa witali księcia biskupa reprezentanci władz autonomicznych i rządowych oraz instytucyi naukowych i filantropijnych. Rada miejska stawiła się prawie w komplecie. Naturalnie brały udział w przyjęciu i tłumy publiczności. Kiedy ks. Puzyna wysiadł z wagonu przeprowadził go do sali p. delegat namiestnictwa, a prezydent m. Krakowa powitał krótką mową dostojnika Kościoła. Zwrócił w niej naprzód uwagę na wspaniałą przeszłość krakowskiej stolicy biskupiej, i tej katedry w której koronowano monarchów, błogosławiono hetmanów i składano zdobyte sztandary. Nowy pasterz nie zastanie stolicy swej ani pogodną ani gwarną, bo koleje losu wycisnęły na niej znamię milczenia i przygnębienia, ale natomiast znajdzie dochowane z przeszłości w sercach mieszkańców: głęboką wiarę, niezachwiane przywiązanie do Kościoła i niewygasłą cześć pamięci tych biskupów, władzców serc i sumienia, którzy dzielili z miastem jego dolę i niedolę.

Przychylne umysły i serca staną się osłodą trudów, jakie czekają pasterza na jego stanowisku. Na przemówienie prezydenta miasta odpowiedział ks. Puzyna podziękowaniem za serdeczne powitanie. Słowa prezydenta zapewniły go, że nie wygasły prastare tradycye, że żywem i gorącem jest przywiązanie mieszkańców miasta do Kościoła i do jego dostojników. Z radością przybywa w te mury, licząc na to, że go społeczeństwo otoczy miłością, o którą też prosi. Przybywając na ziemię krakowską czuje się nietylko jej biskupem, ale i obywatelem prastarej stolicy, z którą pragnie dzielić radości i smutki, pragnie pracować nad podniesieniem miasta, którego każdy kamień jest drogiem historycznem wspomnieniem, pamiątką świetnej przeszłości. Po przemówieniu ks. Puzyny, przyjętem okrzykiem „Niech żyje!“ udał się książe biskup do kościoła marjackiego rzęsiście oświetlonego i napełnionego tłumem publiczności, gdzie go powitał archiprezbiter ks. infułat Krzemiński, wraz z duchowieństwem miejscowem.

Na uroczystą intronizacyą ks. Puzyny, która się odbyła onegdaj (w niedzielę) przybyli do Krakowa arcybiskup Morawski, biskup Glaser, namiestnik hr. Badeni, minister oświaty dr. Madejski, wiceprezydent Rady szkolnej dr. Bobrzyński, posłowie hr. Stanisław Badeni, hr. Szeptycki, Puzyna i t. d. Uroczystość rozpoczęła się o godzinie 9tej rano w katedrze na Wawelu, w której zajęli miejsca reprezentanci władz wojskowych, rządowych i autonomicznych oraz licznych instytucyi. Po ceremonjach kościelnych odczytano *breve* papieskie. Po przemówieniu ks. infułata Gawrońskiego i odpowiedzi ks. biskupa nastąpiło składanie homagium. Po mszy uroczystej odczytano list pasterski, po którym ks. Puzyna przemówił od tronu biskupiego, dziękując za życzliwe przyjęcie ze strony obywateli miasta. Z przemówienia tego na uwagę szczególną zasługuje ustęp tyczący się restauracyi katedry Wawelskiej.

Po południu przyjmował ks. biskup liczne grono dygnitarzy i obywateli obiadem zastawionym w apartamentach pałacu biskupiego. Wieczorem miasto było iluminowane, a w teatrze dawano... Lysistratę.

Wspomniawszy o teatrze, zanotować muszę wielkie powodzenie tak wśród krytyki jak i publiczności „Hardych dusz“ ułożonych przez Zygmunta Sarneckiego z powieści Orzeszkowej „*Bene nati*. Po pornograficznej „Lysistracie“ odetchnęliśmy na „Hardych duszach“ prawdziwie świeżem powietrzem. Są w nich sceny i rzewne i poetyczne i prawdziwie dramatyczne i nawet wesołe; są charaktery silne, mające wolę i energią, są typy szlachetne i sympatyczne. Zdaje się, że pierwszy raz widzieliśmy na scenie szlachtę zagrodową litewską ze wszystkiemi jej zaletami, wadami i przesądami: te przesądy są właściwym bohaterem dramatu, stwarzają akcją, wpływają na losy głównych figur. W sztuce nie ma ujemnych charakterów, pomimo, że ludzie w niej występujący stają się winnymi moralnej zbrodni; są oni przekonani, że działają mądrze, szlachetnie, uczciwie. Je-

Główną wadą utworu jest zbytnia jego rozwlekłość, która jednak łatwo da się usunąć przez skreślenie kilku scen w dwóch ostatnich odsłonach.

Pomnik Mickiewicza stoi już całkiem odsłonięty, dopóki go nie zasłonią na nowo. Dnia 14 bm. odbyło się posiedzenie komitetu pomnikowego, którego przebieg był bardzo nieprzyjaznym dla autora pomnika. Donosiłem wam w swoim czasie jak wstrętne wrażenie czyni figura Mickiewicza; ona też podległa najsurowszej krytyce członków komitetu. Właściwie cały pomnik uznano za nieodpowiadający temu, czego ogół ma prawo od niego wymagać, ale ponieważ o postawieniu całkiem nowego pomnika nie może być mowy, zresztą część architektoniczna ma wady bardzo drobne, a figury boczne, oprócz wad rażących, mają wiele pierwszorzędnych zalet, przeto komitet postanowił jedynie dążyć do wykonania na nowo samej figury Mickiewicza. Postanowienia tego nie zamieniono w uchwałę jedynie z tego względu, że szło komitetowi o zasłonięcie się motywami czysto artystycznej natury. W tym celu powołanych będzie kilkunastu znawców do wyrażenia swej umotywowanej opinji. Komitet posiada jeszcze w rękach swoich 19,500 złr., która to suma wystarczy najzupełniej do wykonania nowej figury. Odlanie kosztuje zaledwie 6 do 8 tysięcy franków, — materyał niby nie kosztował, bo dla dostarczenia go byłaby użyta dzisiejsza figura. Ujemną stroną tej zamiany figury byłaby tylko znów paroletnia zwłoka. Ale przyzwyczailiśmy się już tak do odwlekania całej tej sprawy, że nie zrobi to już nam najmniejszej różnicy i będziemy szczęśliwi, jeżeli w tem jeszcze stuleciu pomnik zostanie odsłonięty. Miejmy nadzieje, że przynajmniej w stuletnią rocznicę urodzin Mickiewicza będzie Kraków posiadał widomy znak czci narodu dla wieszcza.

K. Bartoszewicz

KRONIKA WIEDENSKA

Wiedeń, 20 lutego.

(Jeszcze śniegi. — Kradzieże i morderstwa. — Jeszcze jeden „Mazur-Abend“. — Artystyczna wyprawa do bieguna północnego i zdania artystów o niej. — Echa o Hubermanie cudownym i Hoffmanie artyście. — Poseł sejmowy Gregorig a radzca Wydziału Dr. Weitlof. — Reichsrath rozpoczyna sesye.)

Od kilku lat nie pamiętamy tutaj takich śniegów, jakie spadają na nas od dwuch tygodni bez przestanku. W razie odwilży będziemy pływać i brodzić w błocie nawet po chodnikach, których nasi „hausmeistrzy“ stanowczo nie chcą utrzymywać w czystości, twierdząc, że te należą do magistratu, jako własność gminy.

Wśród śniegów i zawiei rozbijają też i kradną na wszystkie strony. W przeciągu dwuch tygodni naśrubowano i okradziono siedm kas ogniotrwałych w różnych bogatszych sklepach i kantorach pieniężnych. W końcu też wyłowiono z owej dowcipnej bandy opryszków trzech Greków. — ale w Budapeszcie i Nizzy. Policya bowiem wiedeńska zajęta morderstwem, spełnionem na adwokacie Rothziegel, nie miała czasu i mózgu na szukanie złodziei. Nareszcie morderca sam się znalazł w osobie niejakiego Eichingera, którego uwięziono na razie jako podejrzanego i miano go lada dzień z braku poszlaków uwolnić, lecz się sam do zbrodni przyznał. Ów Eichinger, oberlietenant piechoty stał załogą w Przemyślu i tam zakochał się w pięknej żydówce, córce kupca Rabinowicza. Ponieważ ojciec nie chciał na ten związek zezwolić, Eichinger przeszedł na mozaizm, zezwoliwszy na spełnienie rytualnego przepisu na sobie, przeniósł się do artyleryi i nadal pozostał w służbie czynnej, bez kaucyi małżeńskiej. Rząd bowiem takiego małżeństwa nie uznaje za ważne, więc Eichinger uchodził w armii za kawalera. W końcu za wykroczenie jakieś musiał kwitować i wystąpić z wojska, znalazłszy zatrudnienie w kancelaryi adwokackiej. Dopuścił się morderstwa dla rabunku. Aresztowana z nim żona w tych dniach została ze śledztwa jako niewinna wypuszczona. Charakterystycznem w całej tej sprawie jest stanowisko wiedeńskiej prasy, zostającej jak wiemy li tylko w rękach żydowskich. Mordercę dzienniki prawie biorą w obronę, ponieważ jest żydem i to neofitą, a dzisiaj obrońca jego Dr. Ellogen stawia wniosek o skonstatowanie jego niepoczytalności, popierając to faktami z życia Eichingera, licząc w takowe i przejście jego na mozaizm. Czasem dobrze być i żydem.... w Austryi.

Jeszcze jeden „Mazur-Abend“ polskiego Towarzystwa odbył się dnia 15 w sobotę. Do jakiego stopnia lojalności dochodzą Polacy w Austryi, dowodem tego są zaproszenia i karty wstępu na polskie wieczorki pisane, t y l k o w j ę z y k u n i e m i e c k i m! W Warszawie, w owej okneblowanej Warszawie, gdzie zmuszają urzędownie do pisania po rosyjsku, przecież znajdują się sposoby na dopisywanie tekstu i po polsku, a nawet, kto chce opuścić tekst rosyjski, może to uczynić pisząc po francuzku. Polacy we Wiedniu, zapraszając na swoje bale siebie — piszą po niemiecku. Podaję tę wiadomość bez komentarzy, ponieważ każdy z czytelników nazwie to po imieniu.

Sztuka plastyczna, traktowaną jest w Wiedniu bardzo po macoszemu. Jeżeli mecenas jaki kupuje obrazy lub rzeźby, to z pewnością roboty artystów berlińskich lub paryzkich, albo monachijskich. Dowodem tego zakupy na wystawie secesyonistów z Monachium, urządzonej tu przed miesiącem. Jeżeli jednak idzie o urządzenie blagi na wielką skalę, o której by trąbiły wszystkie dzienniki, natenczas mecenasowie znajdą się niezawodnie i sypną nawet grubemi pieniędzmi. Malarz Payer, znany z wyprawy podbiegunowej, jaką odbył przed kilkunastu laty z Weyprechtem, nie mogąc obecnie z obrazami swemi zrobić interesu, zaproponował ponowną wyjażdżkę „artystyczną“ w celach „sztuki“ pod biegun*). Arystokracya z hrabią Wilczkiem na czele utworzyła komitet, Payer miewa dla zachęty odczyty, pieniądze zbierają do półmiliona guldenów — a artyści się śmieją i drwią. Bo trzeba rzeczywiście grubo naiwnego, aby pozwolić sobie wmawiać sztukę i jej cele pod biegunem! Morze zamarznięte — stepy białego śniegu na około i zimno dochodzące 50° niżej zera! Ponieważ sam Payer wie o tem, że przy pięciu stopniach farby marzną, a palce sztywnieją, wymyśla ogrzewaną s z k l a n n ą b u d k ę, w której siedząc chce malować, — zapominając niestety i o tem, że szkło, pokryte mrozem, będzie nieprzezroczystem! Ale panowie chcą się bawić, a kilku żydowskich milionerów pragnie reklamy, więc i prasa codziennemi artykułami zaznajamia publiczność z genialnemi pomysłami rzeczywiście genialnego pod tym względem malarza! Tymczasem artyści wiedeńscy i cała sztuka może spać w spokoju. Ankieta artystów urządzona celem wydania opinii o tej sprawie — wprost wyśmiała się z blagi „wyprawy pod biegun w celach sztuki“!

Broniś Huberman jest obecnie także w pierwszej linii „ein Stöckenpferd“ dla prasy wiedeńskiej. Gra na koncertach, grywa prywatnie po domach wielkich ludzi, a wszędzie wywołuje entuzyazm i podziwienie. Przyznam się, że nie podzielam zdania o jego „boskości“ pomimo jego polskości (jest warszawskim żydkiem). Wywiera on na mnie wrażenie doskonale wyuczonego, a może nawet i genialnego malca, który umie wprawiać w podziw, ale nie porywa tak, jakby porwał artysta-człowiek, w starszym wieku. Przed sześciu laty słyszałem w Warszawie i tutaj w Wiedniu także, jako dziecko, cudownego Józia Hoffmana. Słyszałem go po tylu latach znowu w tym miesiącu na koncercie tutejszych Filharmoników. Józio uczył się przez ten czas pilnie i wytrwale, wyrósł na Józefa i dopiero teraz zaimponował jako prawdziwy artysta! Spodziewamy go się tutaj z koncertami w połowie marca, i wierzymy w jego powodzenie. Hubermanem ogromnie się interesuje hrabia Zamojski, kupił mu bowiem skrzypce za dziesięć tysięcy marek, jak zapewniają tutejsze Tageblatty, i obcałowuje go przed i po wyjściu na estradę w najczulszy sposób, — jak to sam widziałem. Pytanie, czy pan hrabia i za lat dwadzieścia będzie dla niego tak samo czułym, kiedy Broniś „przecudowni“ najpiękniejsze lata do nauki i będąc tylko mniej lub więcej dobrze grającym skrzypkiem, zwróci się do hrabiego o protekcyę? To pojawienie się cudownego skrzypka przypomina mi również cudownego przed piętnastu laty małego d'Agremont. Panie go całowały, panowie pieścili na kolanach. Doszedłszy lat dwudziestu, grał w „Café chantants“ na Bulwarach Paryzkich podczas ostatniej wystawie światowej, a przed dwoma laty umarł w nędzy w Sydney, w Australii. Dorosłemu artyście nikt nie pomoże, bo to nie robi reklamy!

W sejmie austryackim, ciągła heca i teatr. Poseł Gregorig miał znowu sposobność do zaczepienia wydziału krajowego, naturalnie chodziło tu o żyda czy z żydów pochodzącego urzędnika, któremu wydział krajowy lał 500 guldenów renumeracyi za oszczędności porobione w zakładach dobroczynności. Poseł Gregorig uważa to za niedozwoloną protekcyę i zapytuje radcę wydziału dra Weitlofa, podejrzywając owego urzędnika i o obcokrajowość: „Szanowny panie Radco Doktorze Weitlof! Czy pan niemasz tutejszych urzędników, że obcym dajesz posady? Czy musisz po nich chodzić aż do Węgier, albo wybierać węgierskie nazwiska? Zresztą słyszałem, że ten urzędnik nie jest nawet wcale Węgrem, a nazywał się dawniej Geiringer. Czy wiesz Pan, jakiej on jest narodowości? Ani Niemcem, ani Węgrem, ale żydowskiem dzieckiem protekcyjnem, i dlatego zmuszony jestem przeciwko takiemu postępowaniu stanowczo zaprotestować, bo to jest oszustwo i wprowadzanie w błąd!“

Dr. Weitlof: „Wydział krajowy nie rozdziela posad według nazwisk, ale podług kwalifikacyi. Nie wiem do jakiej narodowości zalicza się ten urzędnik (Feodor Gerenyi), ale wiem, że kończył szkoły w Wiedniu i jest austryackim poddanym. Gdyby ktoś inny z posłów powiedział mi, że Wydział oszukuję, to bym go wezwał do dania mi satysfakcyi — *w obec takiej jednak osobistości jaką jest poseł Gregorig*, przechodzę do porządku dziennego“ (tu machnął pogardliwie ręką).

Gregorig: To jest wielka *bezczelność*! jak może do mnie *ten* człowiek w taki sposób przemawiać!“... I tak dalej bez końca dzień w dzień jedno i to samo! Nie mówi się o sprawach publicznych, mających na celu dobro ludu, ale obraża się wzajemnie podejrzeniami i zarzutami. A poczciwy ludek płaci podatki i płaci dyety posłom, aby się wymyślali kwoli śmieszenia galeryi!...

Xi.

Z prowincyi.

Przyczynek do „naszej solidarności narodowej“.

W jednym z ostatnich numerów „Gońca Wgo“ czytamy, że na walnem zebraniu okręgowem północno-niemieckiego Towarzystwa zabezpieczeń od gradu, p. dr. Kusztelan zerwał solidarność, głosując na kandydata niemieckiego. Sądząc, że ta wiadomość potrzebuje sprostowania, udaliśmy się po informacye do jednego z uczestników pomienionego zebrania. Na podstawie tych informacyi podajemy zajście to do publicznej wiadomości.

Na początku grudnia odbyło się walne zebranie znanego tuw Księstwie Północno-niemieckiego Towarzystwa zabezpieczenia od gradobicia, na którem obierano dyrektora okręgowego i delegata na walne zebranie do Berlina. Z inicyatywy posła pana Józefa Głębockiego zaproszeni zostali poprzednio wszyscy polscy członkowie Towarzystwa z okręgu poznańskiego, do którego należy kilka jeszcze innych powiatów, na naradę prywatną. Ta odbyła się w Poznaniu w hotelu „Victoria“.

Stanęło na nią ośmiu tylko Polaków, pomiędzy innymi p. dr. Kusztelan w charakterze reprezentanta Banku Spółek Zarobkowych, jako właściciela Czarnotek. Zgodzono się bez protestu, że Polacy *solidarnie* oddadzą swe głosy na

---

*) Patrz. nr. 6 „Przegl. pozn.“

p. Głębockiego tak przy wyborze dyrektora, jak i przy wyborze na delegata.

Gdy na walnem zebraniu policzono członków, wykazało się, że przybyło 8 Polaków i tyluż Niemców. Przybyło wprawdzie dwóch jeszcze Niemców, ale ci nie posiadali prawa głosowania. Los miał rozstrzygać. Tymczasem, co się dzieje? Jeden z Polaków N. K. (nie wymieniamy jego nazwiska, bo to osoba szerszej publiczności mało znana), zapytał się przewodniczącego, kto był dotychczasowym dyrektorem. Po odpowiedzi z strony przewodniczącego, Niemca, że on nim był sam, oświadczył p. K. że może nim zostać i nadal. Pan dr. Kusztelan przyłączył się do tego votum. Oczywiście po zerwaniu solidarności przez tych dwóch panów, Niemiec pozyskał większość.

Gdy p. Głębocki to spostrzegł, zaproponował w mniemaniu, że może jego osoba nie podobała się tym panom, na delegata p. Niegolewskiego z Niegolewa. I to jednak nie poskutkowało. Przy wyborze delegata akurat ta sama powtórzyła się scena i ten sam wynik wyborów.

Dla czego p. dr. Kusztelan zerwał solidarność, nie wiemy; a stwierdzamy tylko, *że on jest przewodniczącym w miejskim komitocie wyborczym*, który w interesie zachowania solidarności narodowej został przez komitet prowincyonalny uznany za legalny. Może p. dr. Kusztelan, wyjaśni nam tę zagadkę?

Dodajemy i to, że na walne zebranie przybyło także dwóch gospodarzy polskich. Jakie ci o „solidorności naszej“ wynieśli wyobrażenie, można sobie łatwo wyobrazić!

S. S.

Przyp. Red. O charakterystycznej tej sprawie milczą nasze wielkie dzienniki zupełnie. Sądzimy, że po ogłoszeniu korespondencyi powyższej zapomną o względach osobistych i przemówią nareszcie.

WOLNE GŁOSY.

Z powodu rozlicznych krytyk, które wywołała najświeższa premiera w teatrze poznańskim, odbieramy list następujący:

W sprawie „Zwyciężonego“.

Ponieważ dziś całe Księstwo rozprawia o „Zwyciężonym“ pozwólcie i mnie kilka słów tej sprawie poświęcić.

Wszystkie wielkie talenty mają to do siebie, że wszczyna się koło nich walka namiętna, że wywołują tysiące komentarzy za i przeciw, i są przedmiotem urągań z jednej, uwielbienia z drugiej strony. Tylko mierność nie budzi niechęci. Z tego względu dumnym może być Władysław Rabski, autor „Zwyciężonego“ z tego wręcz niezwykłego zacietrzewienia, jakiem niegdyś powitano „Ascetę“, jakiem dziś witają „Zwyciężonego“. Po owacyach zgotowanych autorowi w teatrze i wzruszeniu, w jakie dramat najświeższy wprawił słuchaczy wszystkich obozów bez wyjątku, zaczyna się wojna w dziennikach. Wszystkie pisma oddają autorowi wielkie pochwały, ale u wszystkich krytyków poczucie artyzmu staje na trzeciem miejscu, namiętności polityczne na pierwszem. Nawet pan P., krytyk „Dziennika Poznańskiego“, nie jest w recenzyi swojej artystą — lecz politykiem, chociaż zastrzega się wyraźnie przeciw takiemu zarzutowi. Przyznając bowiem, że *„Zwyciężony jest utworem, napisanym z talentem, wynoszącym się ponad zwykły poziom sztuk, które w ostatnich czasach pojawiły się na polu naszej literatury dramatycznej“*, — poświęca lwią część recenzyi ujemnym stronom sztuki, a zaledwie kilkanaście wierszy dodatnim. Tak sprawiedliwy recenzent nie pisze o sztuce, którą sam stawia w rzędzie najlepszych utworów nowoczesnych. Nie przeczę, że nadmiar tendencyi może osłabić wrażenie dramatu, ale nacisk, który krytyk tej stronie poświęca, razi stronniczą przesadą. Zarzucać autorowi, że pragnie zohydzić tendencyjnie jedno, a wywyższyć drugie stronnictwo, że wszystkie światła zgromadził na przedstawicielach demokratyzmu, a wszystkie cienie na arystokracyi jest przekręceniem istotnego stanu rzeczy.

W „Zwyciężonym“ widzę dwa ujemne typy w świecie arystokratycznym (hr. Wareccy), a cztery dodatnie (Modliński, Ruszczewski, Marta i Melanja), wśród reprezentantów zaś postępowego kierunku jeden tylko Wolski jest postacią szlachetną, nie pozbawioną jednak świetnie podchwyconych znamion ujemnych, — natomiast dwaj inni przedstawiciele kierunku tego (Wisłowski i Kostecki) są scharakteryzowani z widoczną niechęcią ze strony autora. Jeżeli Wolski przemawia z bezwzględnym pesymizmem o arystokracyi, to o ile mi się zdaje nie tendencya kierowała autorem, lecz względy psychologiczne. Fanatyk polityczny — a takim jest Wolski — przemawiać musi w ten sposób. Gdyby autor był wprowadził samych aniołów arystokratycznych, a samych potworów demokracyi, to przekonany jestem, że ogłoszonoby to w pewnych sferach, za „prawdziwie artystyczny objektywizm“.

O świetnej budowie sztuki i wręcz niezwykłym nerwie dramatycznym, mówi pan P. z „Dziennika Poznańskiego“ zaledwie półgębkiem, a nie przypuszczałem stronniczości właśnie u tego recenzenta, który w Warszawie nauczył się cenić sztukę z wyższego stanowiska.

A w końcu jednę nauczkę autorowi: Sztuk osnutych na tle takiem jak „Zwyciężony“, i napisanych przez reprezentanta postępowego obozu, nie puszcza się na pierwszy ogień w Poznaniu, gdzie pod względem artyzmu mało jest wyrobienia. Trzeba było przylepić wprzódy markę warszawską, lwowską lub krakowską, bo chociaż utwór wywarł tak wyjątkowo silne wrażenie na całej publiczności, to stronniczość polityczna krytyków, lub niechęć osobista, gotowe osłabić uznanie. Tego nie chciałbym pod żadnym warunkiem. Chociaż bowiem nie godzę się na kierunek polityczny Władysława Rabskiego i do stronnictwa „Wolskich“ nie zaliczam się bynajmniej, to cieszę się z tego dziecka poznańskiej ziemi i cieszę się z poety, któremu nawet przeciwnicy przyznają, że „wyniósł się ponad poziom współczesnych pisarzy dramatycznych.“ Obawiam się tylko, że się zniechęci w tej atmosfdrze poznańskiej, gdzie berło krytyki piastują jednostronni politycy, lub zgorzkniali autorzy poronionych i wzdrygnięciem ramion przyjętych fars teatralnych.

Niechaj te słów kilka posłużą ku sprostowaniu opinii, którą jednostki starają się gwałtem usposobić nieprzychylnie dla autora „Zwyciężonego“.

Dr. S.

NA WYŁOMIE.

(Apokaliptyczna polemika. Dziwne sofizmaty. Zróbmy zakład. Ojczyzna-Kopciuszek. Nowa argumentacya lojalizmu naszego. Jeszcze słówko o paszkwilach.)

Tak apokaliptycznie zabrał się do nas „Kuryer Poznański“, że z uczuciem wstydu i mistycznego strachu opuściłem głowę, jak w owej chwili pamiętnej, gdy pewien poznański wieszcz i prorok deklamował w gronie mężów uczonych wierszowane przekłady Apokalipsy. O! przyjaciele moi! radzę wam przeczytać sobie uważnie sobotni numer „Kuryera“, a trwoga i potęga grozy chwyci was w szpony jastrzebie i przeklinać będziecie chwilę, w której na poznańskim bruku stanął „P r z e g l ą d P o z n a ń s k i“ i Sulla na Wyłomie. Rany boskie! co to za straszne potwory pełzają w tym młodopolskim obozie, — zdawać się może, że spełniło się już objawienie św. Jana apostoła, bo oto wstępuje na trójnog „Kuryer Poznański“ i śpiewa taką melodyę: „I widziałem bestyę wychodzącą z morza, mającą siedm głów i rogów dziesięć a na rogach jej dziesięć koron a na głowach jej imiona bluźnierstwa... I widziałem drugą bestyę występującą z ziemi, a miała dwa rogi podobne barankowym i mówiła jako smok... Tu jest mądrość. Kto ma rozum niech zrachuje liczbę bestyi. Albowiem liczba jest człowieka a liczba jego sześćset sześćdziesiąt i sześć.“ — I dalej śpiewa na nutę Ezechielowego proroctwa „Kuryer Poznański“: „A oto sześć mężów przyszli z drogi bramy wyższej, która patrzy ku północy, a każdego naczynie zginienia w ręce swej; jeden też mąż pośrodku ich obleczon był w płócienne szaty, a k a ł a m a r z p i s a r s k i n a b i o d r a c h j e g o. I weszli i stanęli podle ołtarza miedziannego“.

Proszę najpokorniej przebaczyć feljetoniście, że ośmielił się zuchwałą dłonią sięgnąć do apokaliptycznych tajników, aby w kilku słowach scharakteryzować Kuryerowe dzwony na alarm. Być może, że w pewnych sferach poczytają mi to za herezyę i świecę złamią nad głową skołataną, ale zarzucano mi tylokrotnie w „Kuryerze“, że nie znam katechizmu, że obcym mi jest duch religii, że „Wierzę w Boga“ z ust moich nie płynie i tysiące innych babskich powiastek, że nie mogłem oprzeć się pokusie popisania się publicznie biblijną erudycyą. Nie wystarczy to wprawdzie autorowi artykułów p. t. „W obronie zasad i prawdy“, ale jest pewna kategorya ludzi, w obec których poważniejszych argumentów wytaczać nie warto. Czyż bowiem polemika w złośliwy grymas zmienić się nie musi, jeżeli przeciwnik, stając w obronie osławionego artykulu p. t. „W dzień urodzin cesarskich“, nie walczy o to, co „Kuryer Poznański“ istotnie napisał, lecz o to, czego nie napisał. „Przegląd Poznański“ zatopił skalpel anatomiczny w samym artykule i wyciągając logiczne wnioski z monarchicznych, i n e x t e n s o cytowanych tyrad, wykazał, że na drodze rozumowej argumentacyi otrzymujemy dziwaczne absurda, speczne z pojęciami religii katolickiej i Kościoła. Przeciwnik jednak naszym nie podąża śladem, lecz opowiada nam w trzech artykułach, co Kościół myśli o monarchiźmie i co „Kuryer“ ewentualnie p o w i n i e n był światu ogłosić, a czując dobrze przewrotność takiego systemu dowodowego, rzuca niby od niechcenia słówko o przesadzie, zawartej w spornym artykule.

Cała obrona robi nieomal takie wrażenie, jakby ktoś krzyknął na całe gardło: „Ziemia jest wielkim kwadratem i stoi na miejscu“, — a ktoś drugi dodał natychmiast: „To znaczy, „że ziemia jest kulą i obraca się około słońca“, — lub przynajmniej takie, jakby pan X. w artystycznym zapale wołał, że pan „S t y k a est największym malarzem w Polsce“, a p. Y. w obronie tego nonsensu oświadczył: „To znaczy, że Styka maluje czasem nieźle i poprawniej od kilku innych malarzy.“

No! „to już wszystko się kończy“ (da hört doch schon alles auf) — powiem cudowną polszczyzną przeciwnika naszego. W ten sposób podejmuję się uniewinnić wszystko, największą herezyę, najwidoczniejszy absurd. Głupstwo istnieć przestaje na świecie. Zresztą, pocóż tu silić się na łamańce i bronić straconej pozycyi, jeżeli nawet sam ks. Arcybiskup, najwyższa nasza powaga w rzeczach religii, zamanifestował tak wyraźnie protest swój przeciw Kuryerowym nonsensom. Bo przecież organ lojalizmu przeczyć chyba nie będzie, że artykuł p. t. „W dzień urodzin cesarskich“ spowodował bezpośrednio ks. arcypasterza do głośnej enuncyacyi, równającej się publicznej naganie.

To też zdaje mi się, że nie chodziło tu tyle o skruszenie kopii za monarchicznem obłąkaniem Kuryerowych rycerzy, ile raczej o narysowanie karykatury tysiąc razy wyklętej „Młodej Polski“, której największym występkiem jest to, że nie myśli tolerować w imię solidarności narodowej ocukrzonego rosołku lub podrobionej monety politycznej, którą naród częstują różnorodni luminarze poznańscy. Więc wytoczono armaty starego ale skutecznego czasem systemu. Przystrojono nas w tytuły ateistów, wrogów Kościoła, gorszycieli maluczkich i rwe-

...zcie ku przerażeniu wszystkich wierzących ciśnięto straszne słowo: „Redaktor „Przeglądu Poznańskiego“ nie wspomniał w piśmie swojem ani razu słowa: Bóg“. Proszę się nie uśmiechać, proszę nie sądzić, że dla dowcipu poświęcam prawdę. Zarzut ten znajduje się nr. 44 „Kuryera Poznańskiego“ w kolumnie I, łamie III, wierszu 25 od dołu.

Cóż? panie „Bezstronny“, może raczysz mnie łaskawie pouczyć, ile razy w każdym numerze mam wymienić imię Stworzyciela, aby na względy twoje zasłużyć. Albo inną zrobię ci propozycyę: Może zechcesz przysyłać mi wierszowane tłomaczenia Apokalipsy, odczytane przed kilku tygodniami w Towarzystwie Przyjaciół nauk. Gotów jestem umieszczać je po kawałku, a gdy skończę, znów zacznę od nowa. Wreszcie trzeci jeszcze przedstawiam ci projekt. Zbogaćmy fundusz Marcinkowskiego i zróbmy następujący zakład: Powiem ci na ucho, że jestem strasznie leniwym i dotychczas nie skontrolowałem, czy i o ile zarzut twój jest słusznym. Przypuszczam jednak, że wyrazów takich jak „Bóg, boży, boski, bóstwo“ itd. nie znajduje się mniej jak trzydzieści w roczniku „Przeglądu“. Za każdy wyraz mniej ja złożę 10 marek w kasie konkursowej, za każdy wyraz więcej ty kasę tę o 10 marek zbogacisz. Wolałbyś niezawodnie sumy te ofiarować na „Dom katolicki“, ale widzisz, ja w naszych warunkach uznaję tylko „Polski dom katolicki“, a bez tego dodatku „polski“ ani grosza na cel ten ofiarować nie mogę.

Zresztą z balów poznańskich spłynęły do kas religijnych instytucyi potoki deszczu złotego, a o tych biednych kopciuszkach, których imię: „fundusz Kościoszki“, „teatr polski“, „konkursowe dzieło o Marcinkowskim“, „Pomoc naukowa“, „Czytelnie ludowe“, zapomnieli wszyscy. Mam szczególną predylekcyę dla wydziedziczonych i pokrzywdzonych, więc dziś, gdy do rzędu sierot opuszczonych ojczyzna należy, ja tem goręcej, tem namiętniej ją kocham.

Krzywisz się, mój przyjacielu! Wiem! W oczach twoich ten sentyment wygląda znowu na masoneryę, a przytem takie narodowe fundusze nie licują z nowoczesnym lojalizmem, który tak gorąco protegujesz, że go nawet do wyżyn zasady katolickiej podnosisz. Znowu śmiechają się niedowierzająco przyjaciele moi. Ha! cóż robić? Muszę cytować wiekopomne słowa. Posłuchajcie więc, co mówi pan „Bezstronny“ w „Kuryerze Poznańskim“:

„Przeciwnicy polityki lojalizmu widzą w niej tylko wyrachowanie, które zawieść może i nie przypuszczają, że ona ma wyższe i świętsze podstawy, iż ją nie tylko nakazuje rozsądek, ale też sumienie — i taka tylko może być **polityka katolicka.**“

Tak mówi „Kuryer Poznański“.

Ergo: Kto nie jet zwolennikiem polityki lojalizmu, jest wrogiem katolicyzmu, a kto jest wrogiem katolicyzmu, jest wrogiem Boga samego i do królestwa niebieskiego nie wejdzie. Więc cała nasza polityka za czasów bezwzględnej opozycyi była „niekatolicką“, więc Szwajcarya, zrzucająca jarzmo francuzkie, zgrzeszyła przeciw Panu Bogu, więc bohaterzy nasi z r. 1830 w piekle pokutują za nielojalność swoją. Zdaje mi się jednak, że między Stwórcą Wszechrzeczy, Wszechmiłością, Wszechmądrością i Wszechsprawiedliwością, a „Kuryerem Poznańskim“ jest pewna różnica poglądów, bo przecież sam Bóg wyprowadził żydów z niewoli egipskiej, a ucieczkę tę historyczną chyba aktem lojalności nazwać niepodobno.

Gdy „Kuryer“ przeczyta powyższe słowa, mruknie sobie niezawodnie pod nosem: Niech djabli wezmą całą logikę! Gdyby jej nie było, mógłbym bezkarnie bredzić i bredzić, wyzyskując katolicyzm dla zacnej polityki lojalizmu!“ Westchnienie to usłyszy może jego nadworny paszkwilista i w sukurs mu przyjdzie z całą baterya częstochowskich rymów. On to lubi nad życie. Powiem wam bowiem na ucho, że autorem kolportowanego przez redakcyę „Kuryera“ paszkwilu jest pewien akademik z Berlina, który mówiąc nawiasem otrzymał niedawno od niżej podpisanego energiczną nauczkę za natręctwo, a który uprawia fabrykacyę paszkwilów, jako rzemiosło. Rzuca on na wszystkie strony wierszowanem błotem a — cyt! teraz „Kuyer“ omdleje — rzucił niem swojego czasu także na jednego z najpoważniejszych opiekunów „Kuryera Poznańskiego“. Dziwić się temu nie można. „Pack schlägt sich, Pack verträgt sich.“

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Aleksander Kraushar. Kartki historyczne i literackie. Kraków. G. Gebethner i Spółka 1894, str. 152 i 192.

Wiadomo, iż zaraz po elekcyi Jana Kazimierza, Chmielnicki odstąpił od oblężenia Zamościa i okazał się skłonnym do układów. Powody tej zmiany frontu mniej dotychczas były wyjaśnione. Wiedziano coś o liście Jana Kazimierza, wysłanym do Chmielnickiego przez osobnego posła, ale albo przekręcano tego posła nazwisko, albo dwa poselstwa łączono w jedno, albo podawano mylną datę wysłania listu, wskazującą jakoby owo poselstwo odbyło się już po elekcyi (Szujski.) Na podstawie źródeł rękopiśmiennych, znajdujących się w warszawskiej bibliotece uniwersyteckiej i w bibliotece Krasińskiego wyjaśnia rzecz p. Kraushar w rozpoczynającym „Kartki“ artykule: „Poselstwo Jakóba Śmiarowskiego.“ Z przytoczonej własnej relacyi posła jest jasnem, że wiadomość o elekcyi doszła Śmiarowskiego już w drodze, że list pisanym był przez Jana Kazimierza jako jeszcze królewicza, że wreszcie dzięki sprytowi Śmiarowskiego udało mu się obudzić w Chmielnickim nieufność do tych jego doradców, którzy sprzeciwiali się ustąpieniu z pod Zamościa. Śmiarowski ten był niegdyś sąsiadem Chmielnickiego, a kiedy bunty kozackie się rozpoczęły, Krzywonos zniszczył jego majątek, a żonę i dzieci pozabijał. Występuje on jeszcze później w dziejach, kiedy przebywał przy Chmielnickim jako stały rezydent Kisiela; na tem stanowisku poniósł śmierć z rąk tłuszczy kozackiej. Z luźnych druków z końca XVIII w. ułożył p. Kraushar opowiadanie „Dramat rodzinny“, będące historyą tajemnych zaślubin łowczanki Suchodolskiej z Mikołajem Trzcińskim, które były powodem głośnego najazdu ojca zaślubionej na dwór Trzcińskich. Po tym obrazku, należącym do historyi obyczajów, przedstawia nam autor mało znanego satyryka XVI wieku Piotra Wężyka Widawskiego. Satyry tego pisarza prozą są rzadkościami bibliograficznemi, a nawet nazwisko autora mylnie przez historyków literatury było podawane. Jest on więcej zresztą statystą, ekonomistą i moralistą, niż satyrykiem w dzisiejszem rozumieniu. Pióro jego bowiem mało posiada koniecznej do satyry przyprawy: humoru. Jest w niem nieco podobieństwa do Opalińskiego, lubo naturalnie pan Krysztof znacznie przewyższa pana Piotra. Największą zaletą dziś dla nas Widawskiego jest jego język jędrny, barwny, pełen tych zwrotów prostych, a oryginalnych, których Rej był pierwszym u nas rodzicem. Resztę tomu „Kartek“ (tj. więcej niż połowę) wypełniają „Sylwetki literackie z niedawnej przeszłości“. Są to lekko, zgrabnie naszkicowane stosunki redakcyi „Kuryera warszawskiego za czasów Wacława Szymanowskiego. Spotykamy się z trafną charakterystyką tak samego „Wacka“ jak i jego współpracowników: Mirona Bogusławskiego, Krzemińskiego, Gomulickiego, Prusa, Gawalewicza, Czapelskiego i t. d. Z natury rzeczy koloryt tego obrazu jest jasny, różowa farba przeważa. Nie odejmuje to jednak wartości tej pracy, w której poważny badacz dziejów Arciszewskiego, okazuje się wcale dobrym fejletonistą

K. Bart.

* * *

Abgar-Sołtan. Z wiejskiego dworu, nowella. Kraków, nakładem Spółki wydawniczej. 1895, str. 281.

Nowy zbiór nowel poczytnego dziś bardzo autora mało odbiega treścią i obrobieniem od jego prac poprzednich. Tak samo sporo w nich sentymentu, ta sama łatwość opowiadania, ten sam styl niewymuszony, ta sama ilość... pięknych koni. Zauważylibyśmy tylko na niekorzyść tego utworu, że autor wyczerpał się w pomysłach. W największej nowelli, dosięgającej rozmiarów powieści, a noszącej tytuł „Kwaśne winogrona“, bohater, świetny jeździec, przybywszy do krewnych, poznaje się ze swemi dwoma kuzynkami. Pierwsza, córka gospodarza, urodzona z hrabianki galicyjskiej, jest wprawdzie bogatą, ale przesadna, pełną fumów i wyczekującą na „dobrą partyę“, druga biedną, na łaskawym chlebie u stryja, traktowaną niemal jak służąca, ale ładna fizycznie i moralnie. Bardzo łatwo chyba czytelnik się domyśli, że ta druga zostanie panią serca bohatera powieści. Znamy zresztą już wiele takich kopciuszków, nie obcą nam jest śmieszna i niemiła postać ostatniej z hrabiów Fińskich, i mąż jej, poczciwy pantoflowiec to także bardzo stara nasza znajomość. Markę niejakiej nowości posiada postać wiejskiej emancypantki: jestto panna dostatnia, zapalona namiętnie do koni, szczera, dowcipna, niekrępująca się, wesoła i otwarcie przyznająca się do staropanieństwa. W zwycięztwie „Don Kiszota“ bohater (również świetny jeździec), swatany przez wszelkie ciocie i kuzynki, wietrzące za dobrem urodzeniem i posagiem, idzie za popędem serca i żeni się z młodem, ładnem, a poczciwem dziewczęciem. W nowelce tej jest jedna postać, nie powiemy, aby nieznana, ale rzadziej spotykana, jest nią człowiek dobrego serca, odgrywający z zamiłowaniem rolę cynika. „Miss Jane“ jest drobnostką, opartą na nieporozumieniu. Mąż w tajemnicy przed żoną urządza sobie stajnię wyścigową. Telegram zapowiadający przybycie „Miss Jane“, jest tak ułożony, że pani małżonka przekonana jest najświęciej o czarnej zdradzie swego dozgonnego towarzysza. Poczciwa „Miss Jane“ tymczasem pierwsza dochodzi do mety na wyścigach w Jarmolińcach, z czego czytelniczki mają naukę, że nie należy mężów podejrzywać, bo to często prowadzi za soby niepotrzebne zmartwienia, choć z drugiej stroną i odnalezienie wierności ma swój powab i swoje przyjemne następstwa. Wspólną wadą tych wszystkich trzech utworów jest to, że na początku każdej z nich, wiemy już dobrze, co będzie na końcu. Prócz nich znajduje się jeszcze w zbiorze obrazek „Żałobna noc“, bardzo smętny i bolesny, bo opisujący śmierć matki. Powinien on był znaleźć miejsce w zbiorze więcej mu treścią odpowiadającym.

K. Bart.

* * *

Kaczkowski Zygmunt. Kobieta w Polsce. Studyum historyczno-obyczajowe. Tomów dwa. Petersburg 1895, nakład księgarni Kazimierza Grendyszyńskiego, in 16-o, str. 448 i 424.

Jedyne to w literaturze naszej studyum, obejmujące w sobie całą historyę dziejów kobiety w Polsce, o mało nie uległo zupełnemu zapomnieniu, a może i zaginęłoby gdzieś niepowrotnie, gdyby nie głosy kilku ludzi dobrej woli, którzy przez lat kilka nawoływali wydawców teraźniejszych do czynienia poszukiwań odpowiednich i do wydania na świat tego dzieła. Niepodobna nietylko w krótkiej notatce, ale nawet w artykule obszernym streścić całej zawartości tego dzieła; ograniczymy się więc na zaznaczeniu, że znakomity nasz pisarz wyczerpał wszelkie źródła, jakie tylko były dlań dostępne, i z drobnych rysów zdołał, dzięki swej intuicyi autorskiej, odtworzyć typowe postacie kobiet dawnych, zaczynając od prababki naszej pogańskiej, a kończąc na „Naszej najukochańszej babce“, którą jeszcze widzieliśmy w dniu wczorajszym. Autor i w tem studyum swojem pozostał wiernym swym przekonaniom, które najlepszy wyraz znalazły w jego powieściach, opisujących życie szlachty w Sanockiem.

Dwa są przeważające rysy tendencyjne w jego opowiadaniu: religijność i miłość tradycyi szlacheckich. Ztąd pochodzi może niesłuszny pogląd autora na losy kobiety w Polsce pogańskiej, oraz na pierwsze, jakie właśnie w epoce pisania dzieła ukazały się, objawy t. zw. emancypacyi kobiet. Dzisiaj, w tym zwłaszcza ostatnim punkcie, niepodobna zgodzić się z autorem, gdyż życie wyrabia w nas powoli inne poglądy na równouprawnienie kobiet. Po za tem dzieło, jako studyum historyczne, pozostaje niezmiernie cennem dla każdego, kto interesuje się przeszłością i bada ewolucyjny rozwój społeczeństwa. Nadto zaleca książkę szata jej artystyczna: język dosadny, czysty, żywy, styl malowniczy, wykład jasny, przystępny. Przedmowę, umieszczoną na początku tomu drugiego, napisał dr. Piotr Chmielowski, znany krytyk i historyk literatury.

* * *

„Biblioteka Warszawska“. Styczeń 1895. A. Brueckner zamieszcza w omawianym zeszycie „Biblioteki“ nowy rozdział swej dawniej już rozpoczętej pracy p. t. „Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej“, pisząc tym razem „O pismach dziś nieznanych“. Autor zalicza do nich następujące utwory: poemat Reja p. t. „Warwas“ (poświęcony kwestyi kobiecej), którego żaden egzemplarz do nas nie doszedł. A. Brueckner zna ten utwór z przekładu czeskiego, który za wskazówką dr. Ziberta odnalazł w Muzeum Czeskiem w Pradze. W temże muzeum znajduje się przekład utworu p. t. „Tragedya żebracza nowo uczyniona“, dotycząca tej prawdziwej plagi XV i XVI stulecia, jaką było żebractwo. Artykuł p. Brueknera zawiera dalej ciekawe wiadomości i o innych nieznanych zabytkach literatury, których tu dla braku miejsca nie wyliczamy.

P. Rembowski w obszernym artykule, rozpoczętym w omawianym zeszycie, zdaje sprawę z nowego dzieła znakomitego historyka A. Pawińskiego, p. t. „Sejmiki ziemskie, początek ich i rozwój aż do ustalenia się udziału posłów ziemskich w ustawodastwie sejmu walnego 1374—1605.

P. Askenazy drukuje kilka wyjątków z korespondencyi Ożarowskiego, dotyczących przedostatniego bezkrólewia w Polsce (po śmierci Augusta II), poddając równoczeźnie krytyce dotychczasowe badania w tej sprawie (Szujskiego i Wojciechowskiego).

Z beletrystyki rozpoczyna „Biblioteka“ powieść p. Kowerskiej „Na służbie“, w dziale poezyi daje Transkrypcye z Horaaego K. Górskiego. Na resztę zeszytu składają się działy sprawozdawcze oraz kroniki: londyńska i miesięczna.

* * *

Odczyt p. Wyzewy. W tych dniach w Paryżu odbyła się próba jeneralna sztuki staroindyjskiej Mric'chakatika, „Wózek gliniany“, którą przypisują królowi Sondraka. Zwyczajem, przyjętym w L'Oeuvre, przedstawienie poprzedzone było konferencyą. Wygłosił ją rodak nasz, p. Teodor Wyzewa, który nie od dziś zajmuje poczesne stanawisko w rzędzie estetyków francuzkich. Dość wspomnieć, że p. Wyzewie poruczono opracowanie historyi sztuki po za francuzkiej w pomnikowem dziele „Les chefs d'oeuvre de l'art de XIX siècle“. Teodor Wyzewa redaguje stale rubrykę literacką w „Temps“ i należy do najbardziej cenionych współpracowników wielkich „Revues“ paryzkich. Wykład jego o literaturze indyjskiej — pisze paryzki korespondent „Gaz. Lwowskiej“ — usprawiedliwił w zupełności rozgłos, jakim się p. Wyzewa cieszy nad Sekwaną. Wygłoszony spokojnie, z prawdziwą dystynkcyą, wykład ten zapoznał publiczność z charakterystycznemi rysami hindusów i ich piśmiennictwa. Opis kraju i ludu był niezmiernie barwny. Co do samej sztuki „Wózek gliniany“, p. Wyzewa wątpi, czy autorem jej był rzeczywiście król. Jestto bowiem utwór nawskroś rewolucyjny; skostniałemu bramanizmowi przeciwstawia się w nim buddaizm, nauka miłości i sprawiedliwości; złodziej-filozof zawstydza sędziego, nawrócona kurtyzana jest bohaterką sztuki, a szlachetny buntownik tryumfuje nad księciem-nędznikiem. Jednak, zdaniem p. Wyzewy, dramat ten powstać musiał w odległej epoce piśmiennictwa indyjskiego, kiedy poeci byli jeszcze istotnie natchnieni, a lud naiwny tak, iż poezya wywierać mogła pełny swój czar. Szczęśliwy, dodał prelegent, kto nie zna fizjologii kwiatów i chemicznego rozkładu gwiazd; dla niego kwiaty wonieją jeszcze, a gwiazdy obleczone są szatą promienną! Konferencya p. Wyzewy odniosła sukces niezwykły a trzeba wiedzieć, że publiczność w L'Oeuvrre jest nader krytyczną; widziałem już conférencierów, którym publiczność w oczy się śmiała, chociaż bynajmniej anegdot nie opowiadali.“

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Kampania antipolska w sejmie pruskim trwa w dalszym ciągu. Minister spraw wewnętrznych Köller nietylko stanął stanowczo po stronie spółki K. H. T., ale i w głośnej sprawie polskich teatrów amatorskich oświadczył kategorycznie, że utwory przedstawiane winny być przedłożone władzom policyjnym w przekładzie niemieckim. Bismark redivivus! — Związek rolników niemieckich odbył w poniedziałek ubiegły wielkie zebranie w Berlinie. Przewodniczący p. Ploetz poddał w dłuższym wykładzie ostrej krytyce traktaty handlowe. — W dniu 18 bm. odbył się w Toruniu sejmik gospodarski, na którym wygłosili odczyty w sprawach rolniczych i ekonomicznych pp. Dr. Bolesław Brodnicki z Małej Kołudy, p. Edward Donimirski z Łysomic i p. Stefan Grabski. — Spora liczba kobiet z towarzystwa „Ethische Kultur“ ogłosiła protest przeciw projektowi przewrotowemu.

Teatr i muzyka. Dzielmy się z czytelnikami miłą wiadomością, że słynna śpiewaczka operetkowa, p. Adolfina Zimajer, powróciła już do zdrowia i wystąpi w najbliższy wtorek jednorazowo na scenie naszej jako Gabryela w „Życiu paryzkiem“. Publiczność poznańska nie widziała jeszcze artystki w tej wdzięcznej roli która należy do najgłośniejszych w obfitym repertuarze pani Zimajer. — W ubiegłą sobotę wznowiono na scenie naszej „Rodzinę Furiozów“ z pewnemi zmianami w obsadzie ról wybitniejszych. Największe uznanie zjednała sobie panna Zimajer grą pełną wdzięku i życia oraz pp. Rapacki, Knapczyński Skirmunt i Królikowski. — W czwartek wystawiono na poznańskiej scenie po raz pierwszy głośną operetkę „Gorąca krew“ na benefis pani Trapszowej. Utalentowana artystka nie szczędziła kosztów i trudu, aby sztukę tę wystawić jak najstaranniej (koszta wystawy ponosi według zwyczajów naszych beneficyant lub beneficyantka), ale mimo to znać było bezustannie, że całość jest tylko mozolnie sklejona. Balet mianowicie zadowolnić nas nie mógł ani pod względom kostyumów, ani pod względem wykonania. Jedna tylko pani Knapczyńska stała na wysokości zadania. Z innych artystów zasługują na uznanie, oprócz beneficyantkl panowie Knapczyński i Trapszo, których humor niespożyty święcił prawdziwe tryumfy, oraz pan Rapacki, zdobywający sobie prześlicznym tenorem serca publiczności. — W ubiegły poniedziałek odbył się oczekiwany z upragnieniem „Koncert Sokołów“ na sali Lamberta i zadowolnił tak treścią swoją jak wykonaniem najwybredniejszych słuchaczy. Amatorska orkiestra „Sokołów“ dowiodła, że pod umiejętnem kierownictwem p. dyrektora Zaremby rozwija się pomyślnie, a kompozycye kapelmistrza swojego (Marsz i Wiązankę pieśni polskich) wykonała prawdziwie con amore. Również „Medytacyę“ Bacha na skrzypce, wiolonczelę i fortepian powitała publiczność przeciągłemi oklaskami. Artyści poznańscy i galicyjscy biorący udział w koncercie, talentem swoim tak ujarzmili publiczność, że zmuszano ich powtarzać nieomal każdą produkcyę. Pełna wdzięku i temperamentu deklamacya panny Zimajer, zdrowy humor i silny głos p. Kicińskiego, elegancki komizm p. Knapczyńskiego i porywający śpiew p. Rapackiego składały prawdziwie artystyczną całość. Salę wypełniła publiczność po same brzegi, a mnóstwo osób odejść musiało bez biletów od kasy — W dniu 14 lutego odbył się w Berlinie doroczny koncert na rzecz „Bratniej Pomocy Akademików Polaków“ W koncercie tym brali udział: znany poznańskiej publiczności śpiewak operowy p. Bernhard, oraz pan Broekere i panna Sulima z Rydzyny. Pierwszy zjednał sobie grzmiące oklaski mistrzowskiem wykonaniem kilku głośnych utworów barytonowych, a koronę wieczoru stanowił duet z Traviaty odśpiewany razem z p. Sulimą. Artystka ta, znana również publiczności poznańskiej z kilku występów koncertowych, dowiodła, że głos jej nic nie stracił na świeżości i sile. Pan Broekere zjednał sobie również grzmiące oklaski pięknem wykonananiem polonezu Chopina.

„Dowcip Voltaire'a“

Voltaire był niepospolicie dowcipny: posiadał wyjątkowy dar, wprowadzania w dobry humor całego otoczenia, jednem zręcznie wyrzuconem słowem jednał sobie ogólne uwielbienie. Pewnego razu wychwalał poetę Albrechta Hallera, jakkolwiek nie cieszył się jego sympatyą, wtedy zauważył ktoś z pomiędzy zgromadzonych: „Pan chwalisz Hallera, on jednak wyraża wręcz przeciwne zdanie o panu!“ „Masz pan słuszność, z uśmiechem odrzekł filozof, — wiem, co mówi o mnie Haller, ale być może, iż obaj się mylimy“.

Kiedy zastanawiano się nad starością świata, Voltaire jednem zdaniem zamknął dyskusyę: „Świat, — rzekł, podobny jest do starej kokietki, o której wieku nigdy nie można sądzić.“

„Co pan mówisz! — zawołał jeden z lekarzy, widząc, że Voltaire wieczorem kawę pije, — przecież to powolna trucizna!“ — „Wiem, — odrzekł filozof, — bo piję ją już, Bogu dzięki, od sześćdziesięciu lat.“

Pewnego razu Voltaire pisał do swego wydawcy: „Nie drukuj pan tak wielkiej ilości dzieł, bo czem większy będzie pakunek, tem uciążliwszą będzie moja podróż na tamten świat.“

Tracił dobry humor, kiedy szło o jego miłość własną i wtedy był nieubłagany. Pisząc w Ferney tragedyę „Katilina“, dla wzbudzenia w sobie natchnienia, ubierał się zazwyczaj w togę i przechadzając się po ogrodzie, deklamował napisane strofy: jeden ze służących roześmiał się, ujrzawszy to dziwne widowisko. Do żywego dotknięty niezwłocznie wydalił go ze służby, a kiedy dobrzy znajomi starali się wyprosić przebaczenie dla biednego człowieka, — filozof wspaniałomyślnie wypłacił winnemu całoroczną pensyę, ale do służby go nie przyjął, mówiąc, że nie może w swym domu tolerować człowieka, który roześmiał się w sam nos, Ciceronowi.

Często jednak padał pod bronią, którą tak zręcznie wojował. Wielki przeciwnik jego Ferron skrytykował sztukę p. t. „Merope“; z ukazaniem się na scenie dzieło pozyskało ogólne uznanie; autor zapragnął zemścić się na niesprawiedliwym krytyku. W tym celu puścił w świat nowe wydanie; na pierwszej stronicy wyobrażony był osieł, szarpiący wieniec laurowy. Ferron wtedy napisał: „ukazała się „Meropa“ w nowem ozdobnem wydaniu, z portretem autora“. Voltaire zmuszony był uznać się za pokonanego i wykupił cały nakład.

Odpowiedzi Redakcyi.

X. Z. W wierszu nadesłanym są niewątpliwe ślady talentu, ale forma razi jeszcze wymuszeniem i gdzieniegdzie pospolitością

Kal. Kosztuje tylko 3 Mr., — nie radzimy jednak kupować.

T. w K. Zgodzić się nie możemy. Rękopis odsyłamy.

Przyjaciółka. Autorowi „Zwyciężonego“ nie chodziło bynajmniej o skreślenie idealnych typów, lecz o charakterystykę ludzi żywych z ich ułomnościami i słabościami. Marta z pewnością ideałem nie jest, lecz kobietą chwiejną o sercu kochającem, — wcieleniem „des ewig weiblichen.“ Wolskiego bezwzględność i egzaltacya wypływa z jego fanatyzmu oraz warunków pochodzenia i otoczenia. Zdaje się, że Pani opiera postulaty swoje na prawidłach klasycznych, których nowoczesna estetyka dramatu już nie uznaje. Część krytyki poznańskiej zastanawia się również nad tem, jakiemi Marta i Wolski być powinni, aby stanąć przed nami w blaskach ideału bohaterskiego, zapomina jednak zupełnie o tem, że autor ludzi i tylko ludzi przedstawić pragnął, — że krytyk, idący z prądem czasu, nie pyta, co temu lub owemu bohaterowi ze stanowiska etyki uczynić należało, lecz czy typ wprowadzony na scenę jest psychologicznie prawdziwy, czy odpowiada ludziom żywym. — Za słowa uznania dziękujemy serdecznie w imieniu autora.

Wszystkim korespondentom, żądającym nadesłania „Zwyciężonego“ odpowiadamy, że dramat ten ukaże się w formacie książkowym dopiero w miesiącu kwietniu.

Składki.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

Młodzież zebrana w hotelu Adamczewskiego 10,40 Mr.

Dotychczas zebraliśmy na cel powyższy 485,80 M.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 9. Poznań, Niedziela 3go Marca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w **Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

WAŻNE WYZNANIE.

II.

Milicya zszeregowana około ks. Koźmiana składała się z różnorodnych żywiołów, ale całość przedstawiała zastęp, idący do boju pod znakiem krzyża, piastowanego wówczas przez Piusa IX i szła do bojn w tem przekonaniu, że to walka *pro Deo et patria.* Ks. Koźmian był w pierwszym okresie tych zapasów wszystkiem, sercem i głową tego zastępu, agitatorem i zarazem publicystą pokroju Veuillota. Dziełem jego jest zorganizowanie *pospolitego ruszenia* całego ludu katolickiego w obu dyecezyach. Nie uczynił tego w charakterze jakiegoś trybuna ludu, uczynić tego nie mógł już dla tego samego, że był z rodu i przekonania szlachcicem polskim, o kolorycie arystokratycznym, i zwolennikiem zasad zachowawczych. Mobilizując lud, miał przedewszystkiem interes kościoła na celu. Znając z dawnych czasów odśrodkowe dążności pewnej części ówczesnego duchowieństwa parafialnego, powątpiewał, czy wszyscy księża za nim podążą. Czego nie mogła dokazać powaga przywódzców, miał dokazać nacisk moralny ludu, z którym wahające się duchowieństwo musiało się liczyć pod groźbą utraty swych wpływów.

Ktoby chciał pisać historyę naszego „ruchu ludowego“ nie może pominąć tego ważnego faktu i przyzna, że ten znienawidzony przez naszych liberałów dla swoich klerykalnych intencyi „Koźmian“ więcej się przyczynił, aczkolwiek w innych intencyach, do rozbudzenia tego ruchu, niż stara gwardya poznańskich liberałów. *Ich* ten ruch zaskoczył niespodziewanie. Patrzyli na niego z lekceważeniem, a zabielmione oko, nie było zdolne dostrzedz w tem zjawisku prądów narodowych. Dopiero, gdy ruch, wszczęty w interesie Kościoła, zaczął wchodzić na tór interesów narodowych, i to pod wodzą ludzi, nie należących do obozu Dziennikowego, bielmo zaczęło opadać, i naraz powstał krzyk w bractwie liberalno-szlacheckiem, „że ręka niegodziwa podkłada ogień pod gmach ojczysty“. Któż jest tym śmiałkiem, co bez upoważnienia naszych gerontów mógł się narzucać ludowi na przewódzcę, skoro w katechizmie politycznym napisane jest, że tylko „z szlachtą polską polski lud“ iść może? — Tymczasem gmachu nie objęły płomienie; ale co się paliło, to słoma komunałów politycznych miłych sercu i uchu naszemu.

Ręka podkładająca ogień pod tę słomę, była ręką „niegodziwca“ Orędownika i Spółki. Do tej spółki należało kilku „fronderów“ z obywatelstwa wiejskiego, a głównie lewe skrzydło stronnictwa klerykalnego, składające się z księży, utajonych demokratów. Ci wyznawać głośno swych zasad nie mogli, bo demokracya jako taka potępiona została przez „*syllabus errorum*“. Popierali oni jednak szczerze „Orędownika“ i jego redaktora, a popierając go nie przestali być w zgodzie z własnem sumieniem, ile że „Orędownik“ przyznawał się głośno do zasad Kościoła.

Jaki miał i ma program „Orędownik“, tego się nikt nie domaca, kto od samego założenia pisma tego regularnie go nie czytywał. Polemiczne artykuły „Orędownika“, pisane piórem, maczanem w żółci, dają powód do mniemania że znęcanie się nad *osobą* przeciwnika jest pisma tego najważniejszym celem. Podług podobnych artykułów, powtarzanych skwapliwie przez dzienniki przeciwnych obozów, a komentowanych *sic'ami* i wykrzyknikami, publiczność nie czytająca „Orędownika“, sądzi go, a jeżeli niekorzystny sąd wydaje, upoważnia ją do tego poniekąd sama redakcya, gdy „in der Hitze des Gefechts“ zaczepia i odcina się frazesami, obrażającemi w wysosokim stopniu patryotyczne uczucia ogółu polskiego oraz ideały wpojone w każdą tkankę mózgów naszych. Przyparty do muru, spostrzegłszy, że podobne odrębywanie się przeciwnikom niepopłaca nawet w „warstwach średnich“ cofa się, ale odwrót ten, zbyt późno i nie zawsze zręcznie wykonany, wzbudza niesmak w kołach własnych jego przyjaciół, a przeciwnikowi przedstawia widowisko odwrotu potłuczonego przez śmigi wiatraka rycerza kastylijskiego. Wszystkie te utarczki polemiczne stanowią wielką przeszkodę w rozumieniu właściwego programu „Orędownika“.

Rozbudzenie w średnich warstwach i przez nie w niższych świadomości praw i obowiązków obywatelskich, jako też oddanie obrony narodowości naszej w ręce ludu samego — oto zwrotka, powtarzająca się od założenia „Orędownika“ w łamach jego. Ponieważ i „Orędownik“ liczyć się musi z pewnemi uprzedzeniami swych czytelników, zatem przytępia nieraz ogólnikami swe myśli, ale kto cokolwiek wniknął w ducha jego programu, wie dobrze, że pisząc np. o polityce *ludowej*, ma na myśli politykę „*demokratyczną*“.

Ile w tym programie jest *szlachtofobii*, w to nie wchodzimy, my się trzymać możemy tylko założenia, z którego on wyszedł, a jest niem kilkakrotnie powtarzana teza, że gdy szlachta liberalna nie posiadała nigdy stałego punktu ciężkości w swej polityce porozbiorowej, że skoro wahając się pomiędzy aspiracyami do zbrojnego powstania i zasadą pracy organicznej, rujnowała zawsze dorobek moralny i materyalny „klas średnich“, tak dobrze jak i siebie, — odmówić jej należy prawa do wyłącznego kierowania obroną narodowości naszej. Program ten wygląda tak, jakby był co dopiero wyrósł z kuźnicy Kołłątajowskiej; opiera się jednak na rzetelniejszej, niż tamta podstawie, bo dziś posiadamy świątlejsze mieszczaństwo i świątlejszy lud, niż to było za czasów Kołłątaja. Ten program z wezwaniem: „zacznijcie się obywać bez szlachty“, uważanoby w krajach na zachód od zgniłej Obry położonych, za coś w rodzaju zabytku archeologicznego. Gdyby np. kto z nas przedzierzgnął się w Niemca lub Francuza i ogłosił go w *Pasewalk* lub w jakimś zakątku Wandei, uchodziłby za filistra, któregoby zapytano z wzruszeniem ramion: czy ty kpisz, czy o drogę pytasz? Ale u nas było to nowością. Zdawało się, że Antychryst na wozie ognistym zjechał na nasz padół, aby zburzyć Zakon naszych tradycyi narodowych! Powstała więc wielka wrzawa na „Orędownika“, a w tej wrzawie najwięcej brała udział prasa naszego liberalnego obozu, z „Dziennikiem“ na czele. Nie działo się to bez powodów praktycznych. „Orędownik“ cieszył się (być może nieproszoną) protekcyą pewnych osób z prawego skrzydła stronnictwa klerykalnego. Z pewną satysfakcyą patrzała szlachta, przyznająca się do zasad zachowawczych z odcieniem arystokratycznym, gdy „Orędownik“ w przymierzu z nią dojeżdżał „*liberalnym szlagonom*“ od „*Dziennika*“, a szczególnie „tromtadrackiej Niegolewszczyznie“. (*Zaznaczamy wyraźnie, że piszemy w cudzysłowie.*) Nawzajem „Orędownik“ odpłacał się wrzekomej arystokracyi pochwałami, przeciwstawiając ją *szlachcie*, nie odmawiał jej uprawnienia do dzierżenia steru w sprawach publicznych, a domy ich uważał za ogniska prawdziwego katolicyzmu i konserwatyzmu w stylu Wielopolskiego, który (nawiasem to mówimy) uchodził w oczach jego za wzór prawdziwego męża stanu w Polsce porozbiorowej. Wyglądało to na „*captatio benevolentiae*“, a było postępowaniem hazardowem, bo „Orędownik“ mógł przypuszczać, iż odgrywał wśród tych panów rolę Szyllerowskiego murzyna. Można było przewidzieć, że to koleżeństwo obozowe długo

trwać nie będzie, że po zawarciu zawieszenia broni między rządem i Kościołem, każdy z tych towarzyszów broni pójdzie w inną stronę, a myśl ta nasuwała się tem wyraźniej, ponieważ „Orędownik“ w przewidywaniu bliskiego końca walki kulturnej, coraz chłodniej bronił interesów Kościoła, a tem głośniej napomykać zaczął, że gdy Niemiec zajmie stolicę prymasowską, trzeba będzie pomyśleć i nad tem, ażeby w obronie naszej narodowości stać się niezależnymi od duchowieństwa. Obok hasła: „obywajcie się bez szlachty“, wydał z pewną rezerwą, nakazaną względami taktycznemi, drugie: „zacznijcie się obywać w sprawach czysto politycznych bez księży“. Zdawać się mogło, że na tym punkcie nastąpi jakiś „*modus vivendi*“ pomiędzy naszym „umiarkowanym liberalizmem“ i „Orędownikiem“. Przeciwnie — rada owa, żeby w sprawach politycznych emancypować się z pod wpływu duchowieństwa, starczyła za materyał do wniesienia aktu oskarżenia przeciw „Orędownikowi“ o szerzenie idei przewrotu. Było wtedy widmo socyalizmu straszakiem na ludzi o słabych nerwach, a że społeczeństwo nasze jest nerwowe, nic dziwnego, że straszak pracował u nas ze skutkiem.

Straszono więc szlachtę i księży „Orędownikiem“, jako szerzycielem idei socyalistycznych i anarchii w naszej dzielnicy: „ukrzyżujcie go — (a przedewszystkiem nie abonujcie) „bo jeźli tego nie uczynicie, socyalna demokracya i anarchia zatruje do szczętu soki naszego poczciwego ludu“. Czyby p. Bebel, czytając ówczesna polemikę pism naszych, nie porwał się za boki od śmiechu? Czy zrozumiałby, o co właściwie toczą między sobą bój ci konserwatywni Polacy? Gdzie tu socyalizm, kiedy wszyscy biją się w piersi i zapewniają, że są Polakami i najwierniejszymi synami Kościoła? Idźcie sobie — powiedziałby — jest to poprostu sprzeczka familijna, do której się nie mieszam. Że w tym całym wrzasku nie było dobrej wiary, jest rzeczą pewną; ale właśnie dla tego zasługuje ta okoliczność na uwagę, że jest objawem patologicznym naszych koteryi politycznych. Pal djabli zasady, bylebym odzyskał straconą pozycyę i zdobył nową! Oto kwintesencya mądrości politycznej naszych autorytetów, mniejsza o to, gdzie oni się kryją, czy w sztabach t. zw. liberalizmu, czy w sztabach t. zw. klerykalnego kierunku. Z takiej wrzawy korzysta zawsze *tertius ridens*, a takim był „*umiarkowanie liberalny*“ nasz „Dziennik“. „*Paris vaut la messe*“, powiedział sobie z humorem protoplasty Burbonów — i pozyskał dla siebie wyspę tumską. Kto odegrał w tym wypadku rolę Mahometa, a kto góry, nie wiemy, ale to widocznem jest, że łatwa na pozór okupacya nie przysporzyła sił „umiarkowanemu liberalizmowi“. *)

*) Sprostowanie. Do poprzedniego artykułu, sprawie tej poświęconego, zakradła się nieprzyjemna omyłka, zmieniająca intencye i opinje autora. Zamiast: oni wolcli stanąć pod komendą komitetów obywatelskich — białych, czy czerwonych — lub iść za głosem takiego patryoty, jakim był n. p. ks. Hieronim Kaysiewicz, niż słuchać rozkazów zwierzchności“ — czytać nalcży: „oni woleli stanąć pod komendą komitetów — białych, czy czerwonych — **niż** iść za głosem takiego ultramontanina-patryoty, jakim był n. p. ks. Hieronim Kaysiewicz, lub słuchać rozkazów zwierzchności“ (str. 85, łam 3, wiersz 4 od góry). Przyp. Red.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Gazeta Toruńska taką wyraża opinję w Nr. 46:

„Z Torunia pisze ktoś do „Kuryera Pozn.“ między innemi, co następuje: „Po sejmiku gospodarskim odbył się w Artushofie bal tak świetny, jak nigdy dotąd (! ! !). Gości zebrało się przeszło 200 osób z Prus, Księztwa i Królestwa. Tańce szły ochoczo do 7 rano.“

Każdy wick ma swoje prawa i przeciw zabawom nawet w setną rocznicę ostatniego rozbioru Ojczyzny nie występowaliśmy, ale rozsyłać w świat przechwałki, że „bal“ w tak smutną urządzony rocznicę swoją świetnością przewyższył wszyskie poprzednie, mógł chyba tylko jeden z tych Wicków i Wacków, za którymi na sali sejmikowej ku wielkiemu swemu zmartwieniu daremnie się oglądali poważni nasi obywatele. Takie przechwałki świadczą o wielkiej bezmyślności i o zupełnym braku serca, który nie pozwala mieć względu na to, że jedna część narodu w tym roku nie tańczy wcale, a inni bawią się skromniej, niż zwykle.“

„*Orędownik*“, streszczając w Nr. 48 odpowiedź ministra Bossego na interpelacyę posła ks. prałata Jażdżewskiego w sprawie nauki języka polskiego. takie załącza uwagi:

„Deklaracya nie podaje nic nowego, bo już od roku, od wydania rozporządzenia p. dr. Bossego z dnia 16 marca 1894 wiemy, że rząd obowiązkowej nauki polskiej nie przywróci.

Deklaracya jest jasna, bo nie upoważnia nikogo do jakichbądź złudzeń.

Deklaracya jest potępieniem polityki naszej partyi dworskiej, która się dziś okazała jako zwodnicza i fał-szywa.

Polityka partyi dworskiej jest dziś skończona. Stra-ciła wszelką podstawę, wszelki grunt. Polityka jej za-padła i przepadła, ale jej wyznawcy istnieją.

Niech się nikt nie łudzi, żeby klęska, jaką ta pa-tya poniosła, nauczyła ja pod każdym względem rozum-jakby się tego spodziewać należało.“

„*Kuryer Gdański*“ donosi w wtorkowym numerze:

„Straszne rzecze wyśledził „Gesellige“. Oto w pr-wnej wsi katolicka dziewczyna chce wyjść za luterskiego parobka a nawet na tyle „przejrzała“, że później gotowa przyjąć „oczyszczoną“ ewangelię i zostać luterką.

Katoliccy krewni dziewczyny powinni się z tego oczywiście zdaniem „Ges.“ cieszyć, lecz szczują oni na „ro-zumną“ dziewczynę i odwodzą ją od „chwalebnego zamiaru. Gdyby to byli zwykli śmiertelnicy, możnaby się śmiać z ich „nierozumu“, ale główny przeciwnik za-miarów dziewczyny, jej brat rodzony, służy — o zgrozo — w Berlinie cesarzowi jako gwardzista. Tam nasłu-chawszy się w koszarach klątw przeróżnych, korzysta z nabytych wiadomości, aby siostrę przekonać i napi-jej list prawdziwie siarczysty.

Korespondent „Geselligera“ — zapewne polujący duszę dziewczyny predykant lub jego pomocnik — st-szcza list owego berlińskiego gwardzisty do siostry, „dowód, że zgoda z Polakami nie możliwa“. Widocz-jest on zdania, że my nie tylko narodowości, ale na-religii bronić nie mamy prawa, kiedy przeciwnie kr-wicielom niemczyzny i protestantyzmu wolno bez prz-szkody odwodzić nasze siostry od ojców wiary i na-dowości.

Nawet poufną wymianę zdań między bratem a sio-strą — wątpimy, czy za wiedzą autora i adresatki — wyzyskują nasi najserdeczniejsi, byle nam tylko d-szturchańca. Cel w tym wypadku godzien jest zupeł-środka.

Zaiste, w niektórych kołach znikło już wszelkie p-czucie uczciwości i moralności“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Młodoczeskie „*Selskie Listy*“ piszą o st-sunku namiestnika czeskiego, hr. Thuna i rzą-austryackiego do narodu czeskiego, co nas-puje:

„Nareszcie doczekaliśmy się politycznego credo naszego p. namiestnika. A to credo prz-nika uczucie pychy i zarozumiałości, — nam-stnik jest z swojego dzieło dumny. Był na-stosunek do niego zawsze jasnym, dziś stał s-jeszcze wyraźniejszym.

„Namiestnik ma według swego przekon-nia dwojakie zadanie w królestwie czeskim.

„I. Upewnić i wzmocnić patryotyzm au-tryacki, ponieważ według niego tylko w siln-Austryi i mocnem połączeniu się z Austryą sp-czywa szczęście Czech.

„II. Utrzymać w naszym kraju ład i p-

WINCENTY KOSIAKIEWICZ.

ONO.

Zaraz po ślubie wyjechali na wieś. Kilka szczęśliwych okoliczności złożyło się na doskonały ten projekt; on otrzymał urlop na cały miesiąc, ona zaproszenie w gościnę do krewnych, lato zaś słało im w prezencie dni pogodne, słoneczne, złote.

Uciecha i szczęście skracały im chwile. Życie ich snuło się, jak w rzeczywistość zaklęte marzenie, a w dni, przepełnione urokami, świeciły dwa słońca, jedno siało blaski, drugie pieszczoty.

On był mieszczuchem z urodzenia i usposobienia. Uczucia pierwszy raz doznawanej miłości czystej i szlachetnej otworzyły jego serce dla natury. Wyrywał się z domu na powietrze swobodne, nie ujarzmione ścianami i nie przyduszone sufitem. Pierwszy zawsze robił propozycye nieuprzykrzonych nigdy wycieczek. „Po śniadaniu pójdziemy do lasku, dobrze Maniu?“ A gdy wracali z lasku, pomęczeni, wolnym krokiem, pożądając co najrychlej progu, on występował z nowym już projektem spaceru: „Przed wieczorem przejdziemy się miedzą do pszenicy, dobrze Maniu?“

Urok wakacyi, na wsi spędzanych, i słodycz miodowego miesiąca przemieniły go zupełnie. Z poważnego nad wiek i poprawnego, jak księga rachunkowa, urzędnika banku, stał się wesoły, ruchliwy i zbytny jak student. Mania wychowywała się w mieście i wieś znała tylko przez zabrudzone szyby letnich mieszkań. Na wsi, tak prawdziwej i tak pięknej, była po raz pierwszy. Poznała jednocześnie tajemnice natury i tajemnice miłości. I ona się zmieniła pod wpływem tej podwójnej nauki. Dziewczątko żywe i wesołe, figlarna trzpiotka przemieniła się w cichą, słodką, rozmarzoną kobietkę.

Było w ogrodzie miejsce jedno, zaciszne, w którem lubili młodzi małżonkowie ukrywać się od natrętów. Pod osłoną gęstwiny, z liści bzu utkanej, przedrzeźniali się z sędziwą lipą-staruszką, której próchno jadło już serce, a która na zakochanych złościła się, szeleszcząc i trzęsąc liśćmi. Tu po raz pierwszy przebąknął on o spodziewanej przyszłości.

— Maniu!...

— No?!

— A jak na imię będzie naszemu s-nowi?

Spłonęła, jak dostała wiśnia i z wyrzut-rzekła do niego:

— E-e-e-dziu!

Ażeby spędzić marsa, który podniósł nie-czarne jej brewki, udał się po protekcyę do p-luszków i każdego oddzielnie pocałunkami pr-kupywał.

Na wsi już nie było więcej o tem mow-Po powrocie do Warszawy jednak, w parę t-godni po urządzeniu się na nowem gospod-stwie, Edzio drugi raz podniósł tę samą wa-kwestyę.

Było to przy herbacie wieczornej.

— Czy wiesz, Maniu, nad czem ja my-w tej chwili? — rzekł Edzio, sięgając szcz-cami do cukiernicy.

— Zkądże mogę o tem wiedzieć?

— Oto zrobiłem postanowienie, że je-mieć będziemy syna, to mu damy na imię...

Zatrzymał się. Mania tym razem n-spłoniła się ani trochę. Oparła tylko głow-na piąstkach, oczy zwróciła na Edzia i rzek-

— Ciekawa jestem, jakie?

— Maryan — odrzekł.

Uśmiechnęła się, dziękując mu wzrok-

— No, a jeśli nie będziemy mieli sy-

— rzekła po chwili.

rządek, a jak w tym kierunku pracował, wyświecają jego słowa: „„Tak panowie! Jam to postawił żądanie, aby zaprowadzono stan wyjątkowy.“ “

Jego Ekscelencya nie wchodzi w głębsze powody dzisiejszego ruchu politycznego i socyalnego, choć dziś widzieć może, że ten stan wyjątkowy nie doprowadził do niczego.

„III. Występować przeciw tym wszystkim żywiołom, które poruszają ład i spokój, ponieważ nie można zaprzeczyć, że w naszym kraju wyszły na jaw prądy radykalne, nastało pewne zdziczenie. Dalej dodaje: „Atoli zawsze używałem środków wyjątkowych miarą najskromniejszą. W stanie wyjątkowym wolno się poruszać swobodnie każdemu obywatelowi, miłującemu ład i porządek. Wolnym jest handel, wolną nauka, wolnem słowo. Uważam stan wyjątkowy za ochronny...“

Ale któż w tym stanie wyjątkowym porusza się swobodnie? Otóż pan namiestnik, szlachta i duchowieństwo. Szerokim warstwom ludu niewolno wypowiadać tego głośno, co myślą.

„Przewrót musi być powstrzymanym,“ prawił namiestnik, a szlachta i Niemcy mu przyklaskiwali. W końcu wyraził podziękę policyi i sądom krajowym za energię i bezwzględność, oraz zapewnił, że dopóki to będzie wolą cesarza, na stanowisku swojem wytrwa.

Rozumiemy go i należycie tę otwartość oceniamy. Ale i my przy programie swoim zostaniemy i w walce wytrwamy...“

* *

Organ socyalistycznej Omladiny „*Radikalni Listy*“ piszą:

„Dość już rezolucyi papierowych o równouprawnieniu, o prawie państwowem, o samodzielności i niezawisłości politycznej, — wszystko to jest niczem, my przedewszystkiem chcemy mieć prawo do życia. Do tego potrzeba nam ludzi silnych, świadomych w każdej chwili celów ostatecznych. Nie starczy chcieć wypełnienia postulatów sprawiedliwych, trzeba całem życiem, w każdej chwili okazywać światu, co się w naszej duszy dzieje. Wiemy, że takie życie, przesycone jest żółcią, odmawianiem sobie wszystkiego, że w każdej chwili zamiast potu krew płynie po skroniach. U nas cały naród o tem pamiętać powinien, ale w pierwszym rzędzie ci, którzy na jego świeczniku stoją.

Wiemy o tem, że myśliciele i walczący za prawa narodu wlekli żywot więzienny, upadali we krwi pod mieczem katów, wisieli na szubienicach. Mimowoli te myśli nasunęły się nam, gdyśmy się dowiedzieli, jak na balu wyprawionym u namiestnika znalazł się poczet mężów, stojących u steru naszego, którzy, jak Vrchlicki śpiewają pieśni na temat poświęcenia i konieczności ofiar, choćby krwawych, dla dobra narodu, a skoro ich p. namiestnik wezwie do siebie bojową lirę zostawiają w domu i spieszą oddawać hołd wrogom narodu.

„Cóż z tego, że tam na dworze rozciąga skrzydła czarne stan wyjątkowy, że w tej chwili, gdy sala brzmiała skocznemi tonami pląsów, tam w kazamatach borskich niejedna głowa śniła o pięknych słowach Vrchlickiego, napisanych już w roku 1890 o karze i winie narodu!

— „Tva noha v podtech (pętach), na twych nadrzech (piersiach) hora,

— Vszak, ptam se, je trest (kara) s vinou (wina) v rovnovaze?

Czescy poeci, artyści i uczeni pląsali aż do północy.

Owóż to, co wytykamy: dla formy, dla konwenansu zapomina się u nas o zasadach.

Ludzie stojący na czele naszego społeczeństwa muszą posiadać inną wolę, — nie takich, których ciało jest gliną zewnątrz politurowaną, przy pierwszem starciu się rozpryskującą.

Nasi panowie poeci, artyści i uczeni muszą być innymi, w czynie i słowie czeskimi, bo choć chcą oni, my nie chcemy zginąć, — osłabieni wśród niedołęgów i łotrów.

* * *

„*Srpski Glas*“, wychodzący w Zadarze, w Dalmacyi, pisze w korespondencyi, otrzymanej ze Sarajewa o słowiańskiem dziennikarstwie tamtejszem, co następuje:

Co się tyczy prasy, to znamy bardzo dobrze, my Bośniacy i Hercegowincy, krótką jej historyę. Zaraz po okupacyi począł wychodzić w Sarajewie dla Serbów prawosławnych tygodnik „Prosvjeta“. Liczba abonentów tego pisma spadła w końcu na siedemdziesiąt, więc wydawnictwa zaniechano po roku. Na miejscu tegoż począł wychodzić w tym samym duchu „Napredak.“ Miał on tendencye uczciwe, ale za wiele zajmował się sprawami religijnemi prawosławia, więc do siebie zniechęcił Serbów mahometańskich i katolickich. „Napredak“ głosił, że prawosławie jest ściśle z narodową ideą serbską związane, że jest wiarą najlepszą i jedyną na świecie (da je pravoslavna vjera najbolja i jedina na svijetu), to też w krótce „Napredaka“ nie stało. Obok tego pisma począł wychodzić w Mostarze „Glas Hercegovca“ rzymsko katolicki, a redaktorem jego został obecnie redaktor dawniejszego „Napredaka!“

W tym samym czasie założyli mahometańscy Serbowie w Sarajewie „Bosznijaka“, obecnie dogorywającego.

Wszystkie te pisma nie pracowały wcale w kierunku zbliżenia się wszystkich Serbów bez różnicy wiary. Z pism beletrystycznych mamy dotąd dwutygodnik „Bosanska Vila“. Pismo to zajmuje się również kwestyami politycznemi i socyalnemi. Założona przez rząd „Nada“ obliczoną jest na to chyba, aby w Serbii obok Zagrzebia, Białogrodu i Lublany jeszcze jedno stworzyć centrum, celem rozbicia naszego....

K.

Henryk Rochefort.

Wreszcie i Henryk Rochefort doczekał się amnestyi. Powrócił znowu dans sa bonne ville de Paris, gdzie przyjaciel jego spowodował nawet trochę hałasu. Zaledwie sześciu lub siedmiu deputowanych i kilku senatorów głosowało przeciwko prawu, wracającemu wygnanemu po raz drugi wielką ojczyznę: Francyą, i małą, również mu drogą ojczyznę: bulwar. Osobiście, jestem zachwycony ułaskawieniem p. Rochefort. Nie pozwalam sobie nazwać wyroku, któremu przed laty uległ nielegalnym; ale sędziowie wydający wyrok zgrzeszyli brakiem filozofii, co ich znów pociągnęło do rozminięcia się nieco z sprawiedliwością.

Nazwałbym to wyższą sprawiedliwością nie uważać p. Henryka Rochefort jako niebezpiecznego dla państwa spiskowca, gdy on właściwie nie jest wstanie być niczem innem jak agitatorem, co z punktu widzenia odpowiedzialności legalnej, jest zupełnie co innego. Byłoby było rozumnem, nie zasadzać na wygnanie dyrektora „*Lenterne*“, który, gdyby się było boulanżyzmowi powiodło, byłby go z pewnością w przeciągu sześciu tygodni znalazł niemożliwym.

W r. 1870 należał do składu rządu prowizorycznego, który go mianował prezydentem komisyi barak. — Co jest zabawnem w tej historyi to to, że Rochefort po bardzo krótkim przeciągu czasu stanął do walki (pióro zastępowalo tu noże) z trzecią częścią swych kolegów; i zaufaniem swojem darzył jedynie Trochu, tego

---

— W takim razie mieć będziemy naturalnie córkę i nazwiemy ją Manią.

Pani Marya wstała, podeszła do mężusia i pogłaskała go białemi rączkami po twarzy. On ucałował te białe rączki. Po chwili pili herbatę.

— Ale! — zawołała pani Marya, odkrywając nową głębię w kwestyi, którą Edzio uważał za rozstrzygniętą. A jak będzie drugie imię?

— A prawda! — rzekł Edzio. Nie pomyślałem o tem.

— Przerzućmy kalendarz! — poradziła pani Mania.

— Wybornie!

Niestety na nowem gospodarstwie brakło kalendarza. To oddziałało zniechęcająco na studyowanie tej kwestyi. Zaprojektowano kilkanaście imion z pamięci, pomiędzy któremi pare znaleziono godnych tego, aby uświetniło je przyjęciem ich dziecko, ale wyboru żadnego nie zrobiono.

Na pierwszego Edzio, załatwiwszy z pensyi drobne sprawunki, przyniósł do domu książkę jakąś.

— Co to? — zapytała Mania, biorąc ją w rękę.

— Kalendarz.

— I tegoroczny. Przecież to już listopad. Trzeba było kupić przyszłoroczny.

— Prawda, nie spostrzegłem się. Ale mniejsza o to...

Wziął od niej książkę i odnalazł spis imion.

— Patrz — rzekł, pokazując na długie szeregi imion — wybierzemy.

Przy obiedzie przeglądał spis, nie przestając jeść jednocześnie. Po ostatniem daniu, Mania, oparłszy się łokciami o stół, pochyliła główkę nad kalendarzem.

— Na *a* — rzekł Edzio — naprzykład Armand.

— E! pretensyonalne.

— Amadeusz.

— Idź-że ze swojemi imionami.

— Szukam takiego, coby pięknie brzmiało.

— Jużbym wolała Bronisław.

— Bronisław? nigdy! Miałem kolegę Bronisława. Nizki, brudny charakter; zrobił mi wiele złego... Nie... nie... nie chcę.

— To może Czesław. Bardzo ładne imię.

— Czesław. Ale jak to spieszczenie wołać Czesio! Czesio! to przypomina czesanie. Nie, zaczekaj, ja znajdę.., Karol. Bardzo ładne. Karol, Karolek, Lolo.

— Ach nie, nie. U nas na pensyi był lokaj Karol; obrzydliwy, pijanica i gbur taki. Przypominałby mi go...

— Więc Konrad.

— Za pretensyonalne.

— Eh, u ciebie wszystko pretensyonalne. No, a Michał...

— Teraz każdy stróż nazywa się Michał.

Nie mogli dojść do żadnego porozumienia się. To Edzia trochę zniecierpliwiło; oddał Mani kalendarz i położył się na kanapie dla odbycia poobiedniej drzemki.

Upłynęło kilka miesięcy. Pewnego razu Edzio przyniósł jakąś książkę.

Pani Mania natychmiast przeczytała tytuł i położyła ją na biurku męża.

— Widziałaś, Maniu, tę książkę? — zapytał Edzio po chwili.

— Widziałam.

— I wiesz co to jest?

— Coś tam o wychowaniu.

— Jak to! coś tam o wychowaniu — rzekł rozdrażniony — to wcale nie jest coś tam o wychowaniu, ale znakomite dzieło Spencera „O wychowaniu fizycznem, moralnem i umysłowem“. Przyniosłem to dla ciebie.

— Dla mnie?

— Tak: Przeczytaj to sobie uważnie, a czego nie rozumiesz, to ja ci...

— I cóż ty myślisz, że ja będę z książki wychowywać dzieci?

— Myślę to — odrzekł Edzio ze spokojem, którym przykrywał irytacyę.

— Mnie wychowano bez książki i dzięki

mistycznego politechnika, który z pewnością w całej Francyi był najmniej zdolnym do myślenia o barykadach i o wojnie prowadzonej inaczej jak podług przepisów zalecanych przez książki. — Dymisyonowany i poważniony z rządem prowizorycznym, Rochefort musiał powitać z entuzyazmem nastanie Komuny. Trzy tygodnie potem wymyślał na komunę i porównywał Rząd Rewolucyjny do zgromadzenia Karaibów, co nie przeszkodziło sądowi wojennemu wyekspedyować go do Numey. Jest to jeden z smutnych paradoksów znaczących wojny domowe, że ludzie są częściej sądzeni za przekonania dawniejsze, jak za uczynki chwili. Henryk Rochefort uległ właśnie takiej anormalności. Powróciwszy po doczekaniu się amnestyi do Francyi, nie miał nic spieszniejszego jak zbliżyć się do generała Boulanger, to jest do rządu indywidualnego — gdy całą swą olbrzymią popularność genialnego pamflecisty zawdzięczał tej jednej idei, że trzeba zniszczyć w Napoleonie IV rząd indywidualny. W gruncie, człowiek ten tak zdolny, którego naiwność jest zarazem i wdziękiem i wytłomaczeniem, a który wydrwiwanie przesądów burżuazyi uczynił niejako swem rzemiosłem, umieścił całą swą działalność polityczną w słynnych słowach Prudhomme'a, wskazującego na szablę, mającą bronić instytucyi społecznych, a w danym razie — burzyć takowe. Bo zrozumieć to trzeba, że ten szyderca o wielkim talencie, nie jest wcale inteligencyą filozoficzną lub polityczną, lecz poprostu tylko cudownym „temperamentem". Te dziwne jego przekonania, którym, — to dodać trzeba na jego pochwałę — osobisty interes był zawsze obcym, nie są owocem mózgu zastanawiającego się lub charakteru odważnego, jaki posiadają ci ludzie tak często niesłusznie ganieni, których doświadczenie doprowadza do zmiany opinii, i którzy w burzach politycznych ujrzą czasem nagle przyszłość w świetle błyskawicy oświecającej świętemu Pawłowi drogę do Damaszku — Henryk Rochefort nie pasyonował się nigdy dla idei, lecz zawsze tylko dla jakiejś lub przeciwko jakiejś osobistości. To wszystko, co jest abstrakcyą lub nieosobistością, jest dla niego niedostępnem. Brak sprawiedliwości w jego umyśle, który go popchnął nieraz do okrucieństw słowa, do lekkomyślności w oskarżeniach, do uporu w zawiściach jest właśnie wynikiem tej radykalnej niezdolności do idei abstrakcyjnych. Nigdy zrozumieć on nie mógł tych głębokich słów kościoła, jednych z najpiękniejszych i najwznioślejszych, jakie dane były ludzkości, że „nienawidzieć trzeba grzech, a nie grzesznika."

Gdyby p. Rochefort mógł być „myślicielem, lub chociażby tylko człowiekiem partyi o pewnej karności byłby pewnym miejsca w historyi, jako jeden z największych, jeżeli nie największy pamflecista języka francuskiego — gdyż jeżeli w jego prozie można nie lubić klinklinów trącących wodewilem, jądro języka jest zawsze przepysznej siły i czystości. Nieszczęściem dla niego, nie ma w nim żadnej doktryny, chociażby tylko uczuciowej, a przecież przez doktryny to lub przez uczucia ludzie są prawdziwie wielkimi. Można nieomal powiedzieć o jego pamfletach, że są à passe-partout, i że zmieniając w nich tylko nazwiska, mogłyby służyć p. Persigny do zaczepiania republikanów równie dobrze, jak posłużyły republikanom do zabicia bonapartyzmu. Nadano p. Rochefort przeróżne przezwiska, i jest to dowcip dosyć nieszczególny porównywać go z clownem, który się z sceny wycofał zestarzawszy się i nabrawszy tuszy. Co do mnie chętnie widzę Mefista *fin de siècle* — gdy w katalogu szatanów Mefisto jest uosobieniem przeczącego rozumu. — Ten duch, ten instynkt przeczenia, są właśnie gruntem istoty umysłowej Rocheforta. W braku innej ofiary on gotów drwić z siebie samego.

Nerwowy jak kobieta, do najwyższego stopnia wrażliwy, zdolny do wszelkiej uczuciowości w ciasnem kółku swych najbliższych, ale zapoznający ten najwyższy stopień sprawiedliwości, zwący się „dobrocią", ten dziwny człowiek wyrządził, zdaje mi się, wiele złego, nie domyślając się tego wcale i bez żadnej dla siebie korzyści. Kto wie, czy już chwilami nie poczuł, że ten zmysł burzący, któremu chwałę swą zawdzięcza, nie jest jak owa mitologiczna szata paląca ciało... Teraz, gdy znów powrócił, wszyscy pytają ciekawie, jak się wycofa z trudności, które go tu czekają. Rochefort adoruje popularność, a nienawidzi tłum. Jakim sposobem potrafi pierwszą zachować nie zbliżając się do tłumu?

Od kryzysu boulanżowskiego powstała tu rewolucya w umysłach, która mogła ujść walki Rocheforta, zamkniętego w swem artystycznem ustroniu. Demokracya skrajna, na którą się powołuje i która się na niego ogląda, przesiąkła powoli tu duchem mistycznym, i żąda dziś od swych przewódzców wyglądu apostolskiego — rzecz, która może mocno zdziwić Paryżanina bulwarowego, namiętnego zwolennika wszelkich zbytków. Tołstoj zepsuł rzemiosło agitatora fabrykując chodaki. Lud zaczyna żądać, by jego roznosiciele słowa nie zachowali nic z tego wykwintu, który mu się wydaje konsekracyą, rezultatem i powodem utrzymywania się niesprawiedliwości socyalnych. Ludwika Michel stoi mu bliżej i będzie z pewnością więcej słuchaną jak bywalec opery. Może amnestya sprawiając Rochefortowi łatwą do zrozumienia radość, stworzy dla niego niespodziewane niebezpieczeństwa. I kto wie, czy spędziwszy życie na skarzeniu się na niesprawiedliwość możnych, nie dojdzie na starość do utyskiwania na niewdzięczność tłumu, nie będąc zdolnym pojąć tego prawa wyższego, które wymaga, by kwiat zniknął, wydawszy swój owoc, i by burzyciel został zapomnianym gdy to, co miało być zburzonem runie, — jak się w kąt rzuca szpadę, wyszczerbioną w walce!

Nesto (*Echo de Paris*).



USTRONIE.

Tam w ustroniu, w głębi lasu,
Gdzie rzeczułka wstęgą płynie,
Zdala gwaru i hałasu,
W zadumanej śnię gęstwinie.
Tam uroczo, malowniczo,
Tam tak cicho, uroczyście,
Bez szelestu, tajemniczo
Wiatr majowy pieści liście.
W koło pełno barw i woni,
Kwitną wrzosy i czeremchy,
Po kamieniach strumyk goni,
Po kamieniach zdobnych we mchy.
W srebrna falę zapatrzony,
Jak z kamieni perły krzesa,
Słucham brzozą ocieniony,
Co konary w wodę zwiesza.
W toni czasem rybka pluśnie,
Lub jaskółka zwinna, lekka,
Szybę wody skrzydłem muśnie,
Zaświergoce i ucieka...
Mój uroczy kącik w lesie
To królestwo moich marzeń,
Lasu szmer natchnienie niesie,
Szmer strumyka falę wrażeń.
Dzięcioł gdzieś o sosnę stuka,
Serce trwożne czasem stanie,
Kukułeczka z dębu kuka,
A ja liczę to kukanie.

Bogu dobrze, to i ja potrafię także dobrze wychować.

— Babskie gadanie.

— Niech sobie będzie babskie gadanie.

— Ale ja cię proszę, Maniu, ażebyś przeczytała tę książkę.

— Nie mam czasu.

Rozmowa w dalszym ciągu stała się sprzeczką, sprzeczka zamieniła się w kłótnię.

— To i lepiej — wołał Edzio — że nie mamy dzieci. Nie umiałabyś ich wychować!

— Pewno, że lepiej — odpowiedziała Mania — poprzewracałbyś im w głowie.

Na zakończenie tej konferencyi trzaśnięto parę razy drzwiami.

Nazajutrz powtórzyła się sprzeczka. Edzio koniecznie pragnął przekonać żonę o korzyściach umiejętności wychowywania. Mania przekonać się nie dawała.

Upłynęło znowu kilka miesięcy. W czasie tym znakomite dzieło angielskiego filozofa wiele razy zasypywało chmurami pogodny horyzont domowego pożycia.

Pewnego razu Edzio znowu dotknął tej drażliwej sprawy.

— Wiesz, Maniu — rzekł, — że nasze bobo mogłoby już mieć prawie rok.

— Co ty mowisz? — szepnęła zdziwiona.

— A no policz.

Policzyła.

— Prawda — odrzekła trochę smutnie. — Jużby umiało się nawet przeżegnać.

Edzio utopił w żonie wzrok nieco szyderczy.

— Co? przeżegnać? — rzekł — I ty myślisz, że jabym pozwolił może na chrzest, na uczenie katechizmu? co?!...

— O! jabym się ciebie o to pytała!

— Jabym kierował jego wychowaniem.

— Chyba, że y to nie było m o j e dziecko.

— Nie wolnoby ci było się wtrącić.

— Wychowałbyś je — na pociechę kryminału.

— Zrobiłbym z niego dzielnego i postępowego człowieka.

— Nie pozwoliłabym ci mówić do niego.

— Oho! nie wiem, kto ma większe prawa do dziecka.

— Zobaczylibyśmy. Wzięłabym separacyę..

— Z rozkoszą...

— I dziecko zostałoby przy mnie. Ty mógłbyś je widywać tylko raz na tydzień.

— Do lat siedmiu, duszko, do lat siedmiu tylko — krzyczał — byś używała...

— Lepiej, że nie mamy dzieci!

— A lepiej! lepiej! lepiej!

Rozpoczął się niespokojny bardzo okres w życiu dwojga małżonków...

Sprawa wychowania dziecka bardzo często była poruszaną. Im więcej wszakże o tem mówili, im więcej rozwijali i rozjaśniali swoje poglądy, tem bardziej oddalało się jedno od drugiego.

— Ja nie ustąpię — mówił pan Edzio — teraz świat potrzebuje ludzi postępowych. Zapleśniałe formułki i nieuzasadnione wierzenia powinny zniknąć z powierzchni ziemi.

— Nawet nie będziesz wiedział, kiedy je ochrzcą — odpowiadała na to pani Mania.

Rozdrażnienie, wywołane tą sprawą, psuło zgodę ogólną. Upragniona a nie istniejąca istotka rozdzielała dwoje małżonków. Pani Mania odzywała się do męża opryskliwie, pan Edzio zaczął wieczory przepędzać po za domem. Każde ich spotkanie się za wspólnym stołem zakłóconem było choćby kilku przycinkami. Burze domowe bywały częste.

Nieraz, w chwilach lepszego usposobienia zastanawiali się oboje nad przyczyną tego chłodu, który powiał na ich serca i ostudził wzajemną miłość; czuli przytem pustkę jaką w życiu, którą dawniej wypełniało im przywiązanie wzajemne.

— Dzieckaby nam potrzeba — decydowało jedno.

— Tak, toby nas połączyło nawet — dodawało drugie.

Dwa, pięć, dziesięć — pleciesz baśnie,
Nadto, nadto mój proroku,
Gwiazda mego życia zgaśnie,
Nie doczekam, — końca roku.
Nie doczekam, — coś mi szepce,
Długich lat mi nie wróżono,
Kiedym dzieckiem był w kolebce,
Ha, czyżby się pomylono?

Cudne dzionki w mem ustroniu,
Niemniej piękne letnie noce,
Gdy z pod lasu tam na błoniu
Pasikonik zaświergoce.
W koło ciszy nikt nie mąci,
Chyba żaba zarechoce,
Chyba z drzewa wiatr liść strąci —
O, cudowne takie noce!
Wtenczas fala wspomnień płynie,
Marzeń mych otwarta księga,
Marzeń, dumań o dziewczynie,
Barwnych jako tęczy wstęga.
Ponademną dach gwiaździsty,
Niemych drzew w około cienie,
Z nieba księżyc pozłocisty
W wodę rzuca swe promienie.
Na promieniach jego wzlata
Duch mój aż pod niebios progi,
Serce pasmem dum oplata,
W duszę spływa pokój błogi.
O północy z fal powstają
Eteryczne wód boginie,
W blasku tańczą i pląsają,
Aż za chmurą księżyc zginie...
Cuda mógłbym opowiadać
O nadziemskich tych zjawiskach,
Jak na kwiatach lubią siadać
I słodycze z nich wyciskać,
Jak wśród lasu na polanie
Po kąpieli wiodą tany,
Z jakich kwiatów ich ubranie...
Lecz obawiam się nagany.
Niedyskretność wielka wada!
Dziś krytycy tacy cięci...
Nie, mnie pisać nie wypada,
Co wśród bogów tam się święci!
Idźcie sami, jeżli chcecie,
Ciepłą nocką tam w ustronie,
A najlepiej się dowiecie,
Co się święci w bogów gronie.

Witold Leitgeber.

Jeszcze o restauracyi ruiny kościoła Najśw. P. Maryi

w Inowrocławiu

Pomiędzy wiadomościami potocznemi dzienników naszych czytaliśmy niedawno wiadomość następującą:

— * Nagląca sprawa budowy nowego kościoła w Inowrocławiu dla tego wcale nie postępuje, bo odnośne władze z życzeniami parafian co do miejsca pod budowę nie mogą przyjść do porozumienia. Parafianie w przeważnej części życzą sobie, aby nowy kościół stanął na ruinach starożytnego kościoła Panny Maryi — rząd zaś chce ruinę zachować, a kościół na innem miejscu wystawić. Najprzew. ks. Arcypasterz uznał pośrednią drogę za odpowiedniejszą, a plan na jego życzenie przez budowniczego berlińskiego, prof. Ricklaka, wygotowany, miał pogodzić obie strony. Kościół miał stanąć na starym cmentarzu, z ruin miała być zbudowaną fasada, a wieże w dawnej wysokości stanowić miały front kościoła. Minister oświecenia p. Bosse jednak nie potwierdził tego planu i kościoła Panny Maryi, jako starożytnego zabytku sztuki, ze względów archeologicznych rozwalić nie pozwolił („Dziennik P." z d. 14/2. 95. Nr. 37.)

Wymowna to ilustracya do poprzednich artykułów „Przeglądu Pozn." traktujących „o publicznych zadaniach naszych architektonicznych". Ponieważ zaś spór toczy się o jeden z najpoważniejszych naszych zabytków XII wieku, postaramy się przeto zapoznać bliżej czytelników z przedmiotem samym i dotychczasowym przebiegiem sprawy, dołączając do tego od siebie różne propozycye i uwagi, które na podstawie pomiarów i zdjęć na miejscu dokonanych poczynić będziemy mogli. Żałować należy, iż o tak interesujących nasze społeczeństwo rzeczach rzadko kiedy dostaje się coś dokładniejszego wcześniej do wiadomości publicznej, gdyż przez omówienie wszechstronne sprawy podobnej, czy to w towarzystwie jakiem, czy też w prasie łatwiejby nieraz dojść można do odpowiedniejszego rozwiązania trudniejszych zadań.

Każdemu wyjeżdżającemu z Inowrocławia gościncem toruńskim podpadnie na końcu miasta wśród zieleni cmentarza poważna na szerokim pagórku wznosząca się ruina starego kościoła o 2 wieżach, którego mury zewnętrzne sterczą j szcze na jakie 6 metrów, a jedna z wież nawet na 20 metrów ponad ziemią. Są to imponujące resztki pięknego niegdyś kościoła, ktory w r. 1834 zgorzał i od tego czasu nie został odnowiony. Ruina zorientowana w kierunku linii świętej tj. od zachodu na wschód składa się z 4 części i to uwzględniając tylko miary zewnętrzne:

1) z prostokątnego presbyterium 7,3 długiego i 7,15 szerokiego,

2) z nawy 21 m. dług., a 14,5 m. szer.

3) z głównego przedsionka na przodzie pod pod dwoma wieżami 16,45 m. szer. i 6,45 dług.,

i 4) z głównego przedsionka 3,6 m. szer. 3,0 m. dług.

Mury nawowe i mury w części prezbyteryalnej, jako też w dolnej części wieży są z polnego kamienia w kostkę starannie obrobionego jak to u niewielu naszych t. z. Duninowskich kościołów widzieć można. Górna część wież frontowych i większa część murów prezbyteryalnych, jako też boczny przedsionek są w cegle palonej wykonane i pochodzą zapewne z różnych dat późniejszych. Obramowania 8 otworów okien nawowych są również z późniejszego czasu; jak zaś pierwotne okna wyglądać mogły, sądzić można z obramowań 2 okienek prezbyteryalnych, które się z ukośnie w polnem kamieniu obrobionych glifów składają. Dwoje drzwi zewnętrznych zachowało swe pierwotne pod prostym kątem w kilku odstępach cofające się obramowania z obrobionego kamienia polnego. Wszystkie otwory ruiny są półkolem zasklepione i noszą na sobie cechę najsurowszego stylu romańskiego. Przy drzwiach od północnej strony do kościoła prowadzących widać na obrobionych kamieniach kilka powykuwawych twarzy ludzkich, które domyślni archeologowie za pochodzące z czasów pogańskich uważać by chcieli; prawdopodobnie zaś będą one tylko dość nieudolnemi ćwiczeniami dłuta kamieniarzy XII wieku. Na innych kamieniach ścian zewnętrznych widać wykute krzyże, przypominające formą swą krzyże maltańskie.

Nawa kościoła musiała mieć poziomy pułap drewniany, podparty zapewne drewnianemi słupami; prezbyterium zaś przedłużone z pewnością później podczas panowania już u nas gotyzmu było sklepione, jak o tem z pozostałych resztek konzoli podchwytujących nasady żeber wnioskować należy. Nadto w głównym przedsionku pod wieżami zachowały się jeszcze nieźle osobliwe w naszych stosunkach krzyżowe sklepienia z nieobrobionego kamienia polnego, tylko dobrą zaprawą wapienną ze sobą spojonego. Że wogóle zaprawa w tych starych murach — zwłaszcza między polnemi kamieniami, jest wyborną, dowodzi już to samo, że ruina ta bez dachu i przez 60 lat wystawiona na wszelkie wpływy powietrza dotąd się dobrze utrzymała.

— Tak, ale jakbyś zaczął mu przewracać w głowie...

— A ty jakbyś zaczęła wpajać w nie bigoteryę...

Płynące lata podsycały pragnienia i gasiły nadzieje.

— Bo to, widzisz Maniu — mówił pan Edzio wy kobiety, to nie jesteście w niczem umiarkowane. Ja nie powstaję przecież na religię, ale wymagam tylko, aby rozwijała ona w dzieciach uczucia, nie wnosząc do umysłów takich wiadomości, któreby tamowały naturalny rozwój umiejętności myślenia. Ale u was, to wiara znaczy to samo co i bigoterya, wierzyć, to znaczy modlić się sto razy na dzień... Ja pragnę dziecko wychowywać porządnie.

— A wy to tylko w rozum wierzycie i w nic więcej. To też teraz coraz więcej interesowności w ludziach. Wszystko w głowie, a nic w sercu. Dla każdego pieniądz jest jedynym ideałem. Nie chciałabym, żeby moje było materyalistą. Pragnę, żeby dziecko wychowane było po ludzku, rozsądnie...

Pewnego pogodnego dnia pan Edzio i pani Mania siedzieli na ławce w Saskim ogrodzie.

— Co to za rozkosz mieć dzieci — szepnął smutnie pan Edzio.

— Pan Bóg nie błogosławi — odrzekła pani Mania.

— Moglibyśmy mieć już gimnazistę.

— Albo pensyonarkę.

Żeby to tak spotkało nas to szczęście jeszcze.

— Ty byś wybrała mu imię, moja Maniu.

— Przystałabym na twój wybór, mój Edziu.

— Rozwijałabyś w dziecku charakter, wpajałabyś zacne uczucia.

— A ty byś dopomagał mi czytaniem książek pedagogicznych.

— Musiałoby ciebie bardzo kochać.

— I ciebie i ciebie.

— Pana Alfonsa zaprosilibyśmy na chrzestnego ojca.

— A panią Edmundową na chrzestną matkę.

KONIEC.

HRABIA LEW TOŁSTOJ.

BEZCZYNNOŚĆ.*)

(Tłum. **H. St.**)

Redaktor paryzkiego „Revue des Revues" przysłał mi wycinki z dwóch gazet francuzkich, przeczuwając, iż scharakteryzowanie spółczesnego nastroju umysłowego przez dwóch słynnych autorów wzbudzi we mnie żywe zajęcie. W jednym z tych wycinków znalazłem „przemowę Emila Zoli do młodzieży" — w drugim „list Aleksandra Dumasa" do redaktora „Gaulois". Wdzięczny jestem p. Smith za tę przesyłkę, gdyż obydwa te dokumenty — już ze względu na reputacyę literacką ich autorów

*) Podajemy czytelnikom naszym głośną odpowiedź hr. Tołstoja na apoteozę pracy i nauki zawartą w słynnem przemówieniu Zoli do młodzieży francuzkiej. Nie godząc się pod wielu względami na treść rozprawy, zamieszczamy ją mimo to w piśmie naszem w streszczeniu dla poznajomienia szerszej publiczności z ideami rosyjskiego pisarza, w których obok pewnej jednostronności i dziwactwa znajdują się często nowe i zdrowe poglądy. Przyp. Red.

Zastanawiającem jest skąd budynek ten od samego początku założony był na 2 wieże frontowe, jakby był kościołom opackim albo też przynajmniej kolegiackim, gdyż tylko przy takich było w średnich wiekach przyjętem, aby 2 wieże stawiać od frontu, zwykłe zaś kościoły parafialne jedną wieżą zadawalniać się musiały. Jedna z tych wież, południowa, zachowała się przy podanej wyżej wysokości jeszcze dobrze; druga zaś — północna jest o jakie 8 metrów niższą i na wszystkich widocznych bokach od góry do dołu na wskroś popękana. Obydwie wieże zaopatrzone były aż do ostatniego pożaru renesansowemi hełmami cebulastemi, jak o tem ze starych rycin przekonać się jeszcze można.

W tym stanie znajdująca się już od 60 lat ruina wywierała na każdego archeologa lub architekta wrażenie i pobudzała o ile nam wiadomo — od 30 lat już wielu do wzywania litości Kujawiaków, ażeby tę prastarą świątynię Pańską, do której przywiązane są podania o klątwach rzucanych w niej na Krzyżaków i t. p., w godny sposób z gruzów podnieśli. Z Polaków jako jeden z pierwszych podniósł publiczny głos w tym względzie zasłużony archeolog J. Łepkowski z Krakowa w wydanych w r. 1866 „Zabytkach Kruszwicy, Gniezna, Inowrocławia“ i t. d. uważając za ubliżające dla bogatych Kujaw naszych, iż tak cennych zabytków z zamierzchłej przeszłości nie starają się w odpowiednim utrzymać stanie, i wzywając do restauracyi ruiny — ale bezskutecznie.

Następnie ukazał się z pióra profesora krakowskiego p. Łuszczkiewicza zgodny z rzeczywistością opis i rysunki ruiny w „Pamiętniku akad. umiejęt. w Krakowie tom III z r. 1876.“ Z niemieckich utworów pierwszy dał opis ruiny Nowag w „Zeitschrift Bauwesen“ z r. 1872 i zainteresował nią rząd królewski o tyle, iż porobiono z niej nawet fotogrametryczne zdjęcia i ustawiono w r. 1876 szkice i kosztorys w przybliżeniu z zamiarem odrestaurowania ruiny.

Na tem poszła sprawa tak długo w zapomnienie, aż się koło r. 1890 okazała dla Inowrocławia coraz większa potrzeba drugiego kościoła, gdyż dotychczasowa fara wielkiej ilości wiernych pomieścić już dłużej nie mogła. Natenczas powstała pomiędzy parafianami inowrocławskimi nieszczęsna myśl pozbycia się szacownej ruiny, aby *na jej miejscu* wystawić nowy kościół, — jakby w rozległe rozbudowanym Inowrocławiu innego już pod kościół miejsca znaleść lub kupić nie było można: te gładko w kostkę obrobione granity ruiny nęciły widać bardzo do zużycia przy nowej budowli. Wtedy to nadarzyła nam się pierwszy raz przypadkowo sposobność zapoznania się z tym cennym zabytkiem naszego budownictwa i ze zgrozą usłyszawszy o tak niezgodnych z nowoczesnemi zapatrywaniami zamiarach rozpisaliśmy się, choć nie obeznani jeszcze, z tem co o tym zabytku do owego czasu publikowano, jedynie z własnego poczucia, kilkakrotnie w r. 1890 i 91 w codziennej prasie naszej przeciwko myśli rozebrania ruiny. Przytem stawiając pewne propozycye do odrestaurowania, wyraziliśmy w jej obronie stanowczo przekonanie, iż należałoby poruszyć wszystkie sprężyny i zażądać opinii naczelnego rządowego konserwatora zabytków sztuki przed naruszeniem tej poszanowania godnej ruiny: za święty obowiązek bowiem powinnibyśmy sobie uważać, aby nie dopuścić do usunięcia znowu jednej ze starożytnych większego znaczenia pamiątek, których i tak w naszych okolicach jest aż nazbyt mało.

W kwartał po naszym artykule, w tej materyi ostatnim, wyczytaliśmy ku wielkiemu zadowolnieniu w ministeryalnym „Centralblatt der Bauverwaltung“ podobne zdanie tutejszego inwentaryzatora zabytków architektonicznych pana Kohtego. Oświadczył i on się stanowczo przeciwko nieuzasadnionym zakusom rozbierania tak cennej ruiny i rozwodząc się nad jej wielkiem dla naszej dzielnicy znaczeniem w historyi sztuki budowniczej, nawoływał mieszkańców Inowrocławia do należnej wdzięczności dla rządu, który opierając się na dawniej w r. 1884 wypowiedzianem orzeczeniu konserwatora państwowego ruinę jako taką w pięknem otoczeniu zieleni cmentarza zachować i przed dalszem niszczeniem zabezpieczyć pragnie. Zdziwiła nas wszakże przedwcześnie wyjawiona przez p. Kohtego wątpliwość, jakoby w razie rzeczywistej chęci odrestaurowania nie można ruiny w odpowiedni i zadowalniający sposób połączyć z nowo pobudować się mającym kościołem.

Wiadomo, iż po tym czasie Inowrocławianie udawali się do różnych wpływowych osobistości z prośbą o poparcie ich rozbiorowych zamysłów u najwyższej instancyi, a nie wiemy nawet czy propozycye nasze z zamiłowania do sprawy przedłożone swego czasu miarodawczym kołom były przedmiotem jakiejkolwiek dyskusyi. W biegu innych zajęć zapomnieliśmy zgoła o całej sprawie; trzeba było dopiero wyżej przytoczonej wieści o owej „drodze pośredniej“, o której dyskusyę po doznanej odprawie rządowej uważać możemy za ukończoną, — trzeba było dopiero nadesłanych nam objawów wstydu i oburzenia od kolegów, mniemających, iż ze strony polskiej dotąd w tej sprawie nic się nie zrobiło *odpowiedniejszego*, ażeby nas spowodować do wyświecenia całego przebiegu sprawy i ponownego zabrania głosu celem powtórzenia naszego dawnego „ceterum censeo“, które postaramy się sformułować w zarysie, o ile to bez znajomości opracowanych dotąd projektów jest możliwem.

Rozmiary ruiny są tak wielkie, iż wnętrze jej z przybraniem przedsionka pod wieżami pomieścićby mogło około 700 nabożnych; co po nadto miejsca okazałoby się potrzebnem, możnaby uzyskać przez dobudowanie nowego skrzydła do starego kościoła, który to ostatni tak, jak był pierwotnie, na wyłączną cześć NPMaryi mógłby pozostać przeznaczonym. Zewnętrzne mury ruiny należałoby podnieść tylko do takiej wysokości, jak były pierwotnie, a dach założyć tak wysoki, jak tego ślady widać jeszcze na tylnych ścianach wież obydwóch. Z tych ostatnich możnaby tylko jednę, która się bez pęknięć dotąd utrzymała, hełmem niezbyt wysokim zaopatrzyć. Nową część kościoła należałoby organicznie przyłączyć pod prostym kątem ku północnej stronie, gdzie cmentarz jest jeszcze najmniej zajęty grobami, do starej ruiny w ten sposób, iżby ta część, gdzie się znajduje druga niższa i popękana wieża, dla obydwóch części tj. nowej i starej była wspólną, — tak, że przez tę część komunikacya pomiędzy obu w ten sposób powstającemi skrzydłami kościoła odbywać by się mogła. Nowe wnijście do nowej części kościoła znalazłoby się pod prostym kątem do starego wnijścia głównego, któreby pozostało nietknięte, równie jak i charakterystyczne stare wnijście od strony północnej do ruiny prowadzące. Również kwestya zastosowania jednego ze średniowiecznych stylów, jakiby wybrać należało, nie powinna zbyt wielkich przedstawiać trudności; byleby za podstawę rozwiązania się przyjęło, ażeby nowsza część za wielką pomiarką na starszą część nie oddziałała przygniatająco. W ten sposób wzbogacilibyśmy zabytki nasze o jednę wielce charakterystyczną i malowniczą grupę połączonego ściśle starego kościoła z nowym, którąby w późne wieki o czci przez nas należnej i oddanej starożytnym zabytkom naszej przeszłości chlubnie świadczyła.

Nie byłoby tutaj na czasie bez bliższych danych, a mianowicie bez rysunków zapuszczać się w rozwiązanie dalszego programu do tak interesującej restauracyi tego rodzaju rozbudowania; w razie przyznania słuszności zapatrywaniom naszym służyć byśmy mogli analogicznym przykładem, gdzieindziej, w podobny sposób ku zadowolnieniu ogólnemu już wykonanym. Oddając tę przewodnią ideę naszą w interesie sprawy do użytku kół interesowanych, wyrażamy w końcu to mocne przeświadczenie, iż w obec projektu w podany sposób prawidłowo przepracowanego i władza rządowa zapewneby od

---

— już to i dla tego, że noszą na sobie wszystkie znamiona czasu — już to wreszcie z tej podług mnie najważniejszej przyczyny — że każdy z nich stoi na odrębnem stanowisku — zainteresowały mnie wielce i nasunęły mi różne myśli, które tu wypowiedzieć pragnę.

Zola gromi surowo nowych mistrzów wiedzy za to, iż pragną w młodzież wpoić wiarę w nieokreślone, niepewne dogmaty. I ja na to zgadzam się w zupełności. Lecz niestety Zola również na swój sposób pragnie wszczepić w serce tej młodej drużyny wiarę w coś nieokreślonego, niepewnego — nakazuje jej ufać w wiedzę i pracę. Podług Zoli ta wiedza, w którą nie należy zaprzestać wierzyć — jest kwestyą rozstrzygniętą, — kwestyą, która stała się już pewnikiem. „Praca dla wiedzy!“ Lecz właśnie to słowo „wiedza“ jest pojęciem szerokiem, nieokreślonem. Jedni upatrują w niej rzecz niesłychanej wagi, drudzy — większa część ludzkości — klasa robocza — chrzci ją mianem „głupoty“. A mylnem okazałoby się twierdzenie, iż ostatnie to pojęcie wytworzyła sobie nieoświecona klasa robocza li tylko dla tego, że nie zdolna jest pojąć całej głębokości, całego ogromu nauki. Nie — uczeni również nie zgadzają się w swych zapatrywaniach. Bo, gdy podług jednych filozofia, teologia, prawo, ekonomia polityczna góruje nad wszystkiemi naukami, to według zdania innych, jak n. p. naturalistów, wszystkie te gałęzie wiedzy są rzeczą marną i nic nieznaczącą. I na odwrót. To, co spiritualiści, filozofi i teolodzy uważają za zutrudnienie nieszkodliwe może wprawdzie, ale też nie przynoszące żadnego pożytku, to właśnie pozytywiści nazywają „wszechwiedzą“. Krom tego każdy system w jednym i tym samym zakresie ma swoich kapłanów, swoich gorących przeciwników, z których każdy wprost przeciwną postawi tezę, choć każdy z nich ma pewne podstawy do wiary w prawdziwość swego sądu. W każdej dziedzinie wiedzy istnieją doktryny, które przetrwają rok i dziesiątki lat, a gdy okażą się mylnemi puszczane są coprędzej w niepamięć przez tych, — co szerzyli ich propagandę.

Wiemy, że Rzymianie do retoryki przywiązywali wielkie znaczenie, że nazwali ją wiedzą, nią się chełpili i mianowali każdego, coby jej sobie nie przyswoił „barbarzyńcą“. A dziś śmiejemy się z tej biegłości w mówieniu i nietylko odjęliśmy jej zaszczytną nazwę „wiedzy“, ale nazwaliśmy ją wprost głupotą. Niemniej znaną jest rzeczą, iż scholastyka w wiekach średnich uchodziła za arcypoważną naukę, a dziś również się z niej wyśmiewamy. I tak będzie zawsze. Sądzę, iż nie potrzeba zbytniej przenikliwości i bystrości, by przewidzieć, że ta olbrzymia masa nagromadzonych wiadomości, uważana dziś za mądrość i wiedzę, stanie się pośmiewiskiem przyszłego pokolenia, które wzdrygnie pobłażliwie ramionami, skoro się dowie, z jakiem przejęciem i namaszczeniem oddawaliśmy się na swój sposób naszej retoryce i naszej scholastyce.

Ludzie spółcześni, pozbywając się jednych przesądów, chwytają się drugich niemniej szkodliwych i nieuzasadnionych od przesądów świeżo pozbytych. Zdaje nam się, że wiara Egipcyan w istnienie ptaka feniksa nie ma najmniejszego związku z wiarą naszą dzisiejszą w ukształtowanie się świata za pomocą materyi i walki żywiołów, w dziedziczność występków i zbrodni, w lasecznik przecinkowe, z których powstają rożne choroby, słowem przekonani jesteśmy, iż żadna nić wspólna nie łączy tych naukowych hypotez. Lecz to jest tylko nasze złudzenie. Przeobraźmy się tylko duchowo w Egipcyanina, który odebrał swą wiarę od swych kapłanów, wówczas przekonamy się, że ta prawda zasadnicza, na której on budował swą wiarę, jest nietylko podobna, lecz identyfikuje się całkiem z tą prawdą zasadniczą, na której my, ludzie spółcześni, budujemy najrozmaitsze systemy naukowe. Jak Egipcyanin w istocie rzeczy nie wierzył w istnienie Feniksa, tylko wierzył w ludzi, posiadających najdoskonalszą, człowiekowi dostępną prawdę, tak i my nie wierzymy w teoryę Darwina o dziedziczności, ni w lasecznik przecinkowe, tylko wierzymy w to wszystko, co nam kapłani wiedzy za prawdę podają. A nauka naszych kapłanów wiedzy jest również nam mało zrozumiałą, jak była

myśli zachowania w teraźniejszym stanie ruiny odstąpiła i projektowi zatwierdzenia swego nie odmówiła.

J. Rakowicz.

Witold Pruszkowski.

(Ciąg dalszy.)

Z fantazyjnych obrazów przypominam sobie jeszcze „Smoka“ i „Djabła zakochanego w wierzbie“. Pierwszy z nich bawił nawet u mnie przez kilka dni w gościnie, gdyż Pruszkowski był w nieporozumieniu chwilowem z Towarzystwem sztuk pięknych i z tego powodu chciał go wystawić w salach jednego ze stowarzyszeń. „Posyłam ci świeżo ukończone świństwo — pisał do mnie ze zwykłym sobie humorem — pokaż go narodowi, gdzie zechcesz, niech pada na twarz i głupieje.“ Obraz przedstawiał młodą dziewczynę w stroju rusinki w głębi jakiejś pieczary, przez której otwór wsuwała się olbrzymia jaszczurka pożądliwem okiem spoglądająca na swoją ofiarę. Ciało potwora było oddane z niesłychaną brawurą kotorytyczną; kto się bliżej w nie wpatrywał ten widział na łbie i grzbiecie czarne i żółte centki, zlewające się w podobiznę dwugłowego orła austryackiego.

„Djabła rozkochanego w suchej wierzbie“ nazwał Henryk Piątkowski uzmysłowieniem Szopenowskiego *nocturnu*. Na tle ciemnego wieczoru postać djabła tulącego się miłośnie do wierzby, była zarówno pełna fantazyi jak i humoru.

Inną fantazyą, ale głęboką na wskroś patryotyczną była „Unitka“. Zdala widać było na tle łuny pożaru kontury cerkiewki i chat wieśniaczych; Moskal tam palił, rabował, knutem i mordem zachęcał lud do dobrowolnego powrotu na łono prawosławia. Z tego piekła wyrwała się i uciekała raniona unitka przez pola pokryte śniegiem. Ale zabrakło jej tchu, a może upływ krwi ją osłabił, dość, że padła na ziemię, oświetlona łuną pożaru. Około jej głowy zaświeciła męczeńską aureolą trójkolorowa tęcza. Temat to był niesłychanie trudny do rozwiązania: na stu dobrych malarzy dziewięćdziesięciu dziewięciu stworzyłoby rzecz ckliwą, wymuszoną, jak wszystkie prawie fantazye na tle patryotycznem „Unitka“ Pruszkowskiego pomimo fantazyi, która ją zrodziła, była tak pełną prawdy męczeńskiej, była tak pięknem usymbolizowaniem najszlachetniejszego z bólów, że tłum patrzący na nią w skupieniu ducha stał w takiej prawie ciszy i takie słał westchnienia jak lud kiedy się schyla przed cudownym obrazem Najświętszej Panienki.

Po tych fantazyach nastąpiła „Niedziela kwietnia“. Grupa kobiet wiejskich stojących w zbitej masie, z pękami ziół w rękach, oświetlona przebijającemi się przez szyby promieniami słońa, dała pole artyście do wydobycia potężnego efektu. Obraz ten zaliczający się do lepszych prac Pruszkowskiego, znany jest z reprodukcyi chromolitograficznej, danej jako premium członkom krakowskiego Towarzystwa sztuk pięknych.

Ostatnim większym obrazem, jaki sobie przypominam są „Zaduszki“. Jest to poemat, złożony z trzech części, ujęty w jedne ramy. Część pierwsza tryptyku przedstawia na tle nieba i śnieżnej zamieci płynącą w przestworzu bieluchną, powiewną postać dziewczęcia, o pięknej i smętnej twarzyczce. Na drugiej, środkowej części obrazu, widzimy wnętrze wiejskiej chaty, oświetlone strugą światła księżycowego i czerwoną lampką, rzucającą blask na twarz siedzącej i śpiącej pod oknem kobiety. Przed nią stoi to samo dziewczątko białe, powiewne, ze złożonemi na piersiach rękoma; jest to duch zmarłego matce dziewczęcia. Trzecia część obrazu — to cmentarz; nad grobem rośnie brzoza smutna, bez liści, wokoło pusto i głucho, a taż sama, duszyczka“ spogląda smutnie przed siebie, bo lampka na jej grobie już gaśnie i trzeba położyć się na nowo w mogiłę. Jest to, jak widzimy śliczny poemacik, wyjęty wprost z serca ludu, albo tylko włożony w nie przez artystę.

Kończę ten spis poezyi, wymalowanych przez Pruszkowskiego. Zastrzegłem się z góry, przystępując do portretów malarzy krakowskich, że nie mam zamiaru ani zarozumiałości być krytykiem, że co najwyżej poprzestanę na zanotowaniu ogólnego własnego wrażenia. Więc też nie będę się rozwodził nad wartością artystyczną wymienionych prac Pruszkowskiego. Dość mi zaznaczyć, że spełnił pokładane w nim nadzieje, że może mniej zrozumiany przez ogół, cieszy się uznaniem pomiędzy znawcami i ludźmi swojego cechu“. Jeżeli kiedykolwiekbądź pomiędzy nimi jest mowa o największym talencie, to z pewnością jest mowa o Pruszkowskim.

A przecież to co wyliczyłem, jest tylko cząstką jego twórczości. Pominąłem nietylko niektóre obrazy olejne, a zwłaszcza portrety, ale i cały szereg innego rodzaju utworów. Trzeba przeto o nich wspomnieć choć ogólnikowo.

Rysunków jego, piórkiem kredką i ołówkiem jest moc wielka. Przez czas pewien, a będzie to temu lat trzy lub cztery, zabrał się do portretów węglem. W ciągu roku wykonał ich kilkanaście i jak mi mówiono, są to arcydzieła w swoim rodzaju. Widziałem z nich tylko dwa: pana Z. B. i Michała Bałuckiego. Jeżeli mi wolno sądzić, to opinia o nich istniejąca w kołach artystycznych jest najzupełniej uzasadnioną.

Przed rokiem prosił Pruszkowskiego p. Juliusz Mien, tłomacz Słowackiego na język francuski, aby mu naprawił uszkodzony pastel, roboty zmarłego syna. Pruszkowski wymawiał się, bo nigdy nie próbował malować pastelami. Wziął się wreszcie do roboty i zadziwił się, ile z tego niewdzięcznego na pozór materyału można wydobyć siły, efektu i tonów. Zapalił się więc do pasteli i zaczął rzucać na papier kompozycye. Cztery z nich posłał na wystawę lwowską, o czem już na początku niniejszego portretu wspominałem. Zdziwiły, zachwyciły. Salę w ktorej były umieszczone, nazywano powszechnie salą Pruszkowskiego; nazwę tę przyjął X. Skorchowski, znany krytyk sztuki i od „sali Pruszkowskiego“ i jego obrazów rozpoczął szereg swoich fejletonów o sztuce na Wystawie. Szablonowe to wprawdzie wyrażenie, że czegoś opisać niepodobna, bo widzieć potrzeba — a jednak muszę się niem posłużyć, bo żaden opis nie dałby najsłabszego pojęcia o piękności tych pasteli, o wrażeniu, jakie na zwiedzających gmach sztuki czyniły. Sędziowie nie omylili się, przyznając im najwyższą nagrodę: dyplom honorowy.

Nagroda ta słusznie należała się Pruszkowskiemu, metylko jako artyście, co włada dzielnie środkami dostarczonemi przez technikę malarską, ale i jako poecie, co w czasach panowania zimnej prozy, w czasach kiedy realizm mrozi wszelką fantazyą w tworach ducha ludzkiego, kiedy fotografia panuje w sztuce i literaturze, fotografia, chętniej chwytająca to, co brzydkie, wstrętne i chore, niż co piękne, wzniosłe i zdrowe — umiał zmusić tłumy „zjadaczów chleba“ do uklęknięcia przed majestatem poezyi, do przejęcia się „bólem bólów“, do wzruszeń silnych, a szlachetnych.

Pomiędzy temi pastelami jedna zwłaszcza sprawiała niedające się opisać wrażenie. Był to „Pochód na Sybir“, temat, którego się chwytało wielu artystów po Grottgerze i zawsze bez powodzenia. Doszło do tego, że kiedy udzielano wiadomości o przyjściu jakiego nowego „Pochodu“ na wystawę, każdy znawca sztuki uśmiechał się ironicznie i mówił uszczypliwie: ot, nowy rywal Grottgera! I rzeczywiście, aby po Grottgerze malować „Pochód na Sybir“, to potrzeba było być albo olbrzymio zarozumiałym, albo olbrzymio utalentowanym. Pruszkowski znał

---

dla Egipcyan nauka ich kapłanów. W porównaniu swem posunę się jeszcze dalej. Ot, zauważyłem, że tak zwani mężowie nauki niejednokrotnie postępują sobie tak, jak ci starożytni kapłani, którzy podlegając li tylko wzajemnej kontroli, dzielnie kłamali, za prawdę podając to wszystko, co im tylko przyszło do głowy.

Cała mowa Zoli skierowaną jest przeciw przywódzcom młodzieży, którzy zalecają jej powrót do przestarzałych teoryi religijnych. Zola jest ich przeciwnikiem.

Lecz ani jedni, ani drudzy nie szukają zasad życiowych w sobie samych, w własnym swym rozsądku, tylko szukają ich w zewnętrznych formach życia, jedni w tem, co zowią religią, drudzy w tem, co zowią nauką. Jedni co szukają zbawienia w religii, szukają go w dawnych podaniach, w dawnej wiedzy ludzkiej i pragną zaufać tej dawnej, cudzej wierze, — drudzy, co szukają zbawienia w nauce, nie szukają go we własnym swym rozumie, lecz we wiedzy innych ludzi i wierzą w tę cudzą wiedzę. Jedni widzą zbawienie ludzkości w odnowionym, oczyszczonym katolicyźmie, drudzy widzą je w zbiorze najrozmaitszych i najzbyteczniejszych wiadomości, które nazywają nauką, dobrodziejstwem, jedynie skutecznem środkiem, który zdołałby usunąć wszelkie nędze życia i dla ludzkości najwyższe doścignione szczęście. Jedni nie widzą tego, że to, co odbudować pragną, jest tylko pustą poczwarką, z której motyl już dawno uleciał i jajka swe na innem składa miejscu, nie widzą tego, że to, co odbudować pragną, nietylko nie przyniesie ulgi naszym cierpieniom, ale je wzmoże, gdyż nakłoni ludzi do odwrócenia wzroku od realnych warunków życia. Drudzy nie chcą uwierzyć, że ten zbiór nauk, ta ich domniemana wiedza, wzbudzi tylko chwilowe zajęcie w próżniakach, będzie niewinną rozrywką dla ludzi bogatych, lub w najlepszym razie stanie się narzędziem złego lub dobrego, stosownie do tego, w jakie się dostanie ręce. W istocie rzeczy przecież, ani pierwsi, ani drudzy, nie wierzą w skuteczność owego środka, jakiego się uchwycili, tylko jedni jak drudzy pragną odwrócić wzrok swój i wzrok innych ludzi od przepaści, która rozwarła się nagle przed całą ludzkością i która nas wszystkich pochłonie, jeżeli i nadal pójdziemy drogą, jaką idziemy obecnie. Jedni znajdują środki ochrony w mistycyźmie, drudzy, których przedstawicielem jest Zola, w ogłuszającej pracy dla nauki.

Pierwsi od drugich różnią się tem tylko, że pierwsi wierzą w dawną mądrość, której kłamstwo już stwierdzono, drudzy zaś wierzą w świeże kłamstwo, które, nieobalone jeszcze zupełnie, ludzi trwożliwem wahaniem napełnia. Co do istoty samej, przesąd jednych jak i przesąd drugich jest zupełnie ten sam, ta chyba tylko pomiędzy niemi zachodzi różnica, iż wiara pierwszych jest wiarą przeszłości, wiara zaś drugich jest wiarą teraźniejszości. Czyż byłoby słusznie i bezpiecznie postępować za radą Zoli i życie całe poświęcić temu, co świat nazywa nauką? A cóż pocznę wtedy, gdy przez cały ciąg życia oddam się wyłącznie różnym badaniom naukowym, zajmę się roztrząsaniem kwestyi „dziedziczności“ według teoryi Lombrosa, nauki „o płynach“ według systemu Rocha — rozbieraniem studyów o urobieniu się czarnoziemu, lub o istnieniu czwartej jakiejś dymensyi podług systemu Crookesa, i nagle krótko przed śmiercią dowiaduję się, że to, nad czem ślęczałem życie całe, jest tylko wielkiem głupstwem, lub też wprost rzeczą szkodliwą. Cóż ja wtedy pocznę? A danem mi było raz żyć tylko!

Pewien chiński filozof, Laodsi, twierdzi, iż szczęście człowieka, ludzkości całej, wszystkich narodów li tylko polega na pełnieniu „tao“ („tao“ znaczy tyle, co cnota lub prawda). Chcąc przyswoić sobie „tao“ trzeba zaprzestać pracować. Cała bowiem nędza ludzka nie pochodzi ztąd, iż ludzie, nie uczynili tego, co uczynić mieli, lecz że uczynili to, czego uczynić nie powinni. — Mojem zdaniem ten filozof chiński ma słuszność zupełną. Bo jakąż korzyść mieć będą ludzie z tego, iż pracują bez wytchnienia? Giełdzista, bankier powracają z giełdy, gdzie pilnie pracowali, — fabrykant strudzony opuszcza fabrykę, w której tysiące

całą niepospolitą wartość genialnego utworu Grottgera, a jednak nie zawahał się przed niebezpiecznem porównaniem. Tylko wiedział czego nie wiedzieli inni, że należy wyzyskać to czego wyzyskać nie mógł Grottger. A wiec nie przedstawiał szeregu skazańców z twarzami pełnemi bólu lub zadumy, lecz wywołał wspaniały efekt kolorystyczny. Patrzący widzieli tylko długą niezmierzoną pustynię, widzieli chmury ołowiane i przestrzeń śniegową oświecone blaskiem czerwonym, widzieli słup graniczny Europy, a poza nim gdzieś w dali majaczące i niewyraźne sylwety tłumu pędzonego przez żołdaków. Kto się dłużej wpatrywał ten dojrzał, iż z barw i cieni wyłaniała się wśród chmur mglista postać anioła z rękami wzniesionemi ku niebiosom, wpatrująca się w gwiazdę, przebijającą się przez chmury, a będącą zarazem jedynym świetlanym punktem obrazu.

Odtąd sztuka polska liczy dwa wspaniałe „Pochody (na Sybir“: Grottgera i Pruszkowskiego. Ten ostatni nabyty został przez ks. Adama Sapiehę.

K. Bartoszewicz.

(*Dokonczenie nastąpi.*)

Koncert Paderewskiego
w Lipsku.

Lipsk, 22 lutego.

Jak iskra elektryczna podziałała na muzyków i lubowników muzyki wiadomość, że na zaproszenie „Liszt-Vereinu“ daje 19 lutego Józef Ignacy Paderewski koncert, którego dochód przeznaczony jest na wystawienie pomnika Liszta w Wejmarze. Kilka tygodni przed występem zamawiano bilety, gdyż wiedziano dobrze, że nazwisko „Paderewski“ wystarcza zupełnie, aby ściągnąć tyle słuchaczów do kolosalnej sali „krystallpalastu“ lipskiego, ile ona pomieścić nie może, zwłaszcza program ogłoszony obiecywał nie lada ucztę duchową.

Paderewski w swej podróży tegorocznej dwa tylko zaszczycił miasta w Niemczech koncertami: Drezno i Lipsk. Z Drezna, gdzie koncertował 15 lutego w piątym symfonicznym koncercie pod dyrekcyą Schuch'a, i gdzie wzbudził niesłychany dotychczas entuzyazm, przybył do Lipska 19 o 5 po obiedzie, aby przez cały wieczór grą swą wzbudzać podobny entuzyazm jak w Dreźnie, jeżeli nie większy. Przyczynił się do tego niemało szczęśliwy wybór utworów, które dały sposobność poznania wszechstronności Paderewskiego. Czytając na programie nazwiska Bacha, Beethovena, Szumana i Rubinsteina mimowoli przyszło się do wniosku, że ten, co te techniczne z jednej strony, a co ważniejsze z drugiej strony pod względem zrozumienia trudne utwory oddać się odważa, wielkim musi być mistrzem tonów i geniuszem, jeżeli w istocie je zagra „comme il faut“. I otóż oczekiwania nie doznały zawodu. Paderewski venit i vicit. Rozpoczął chromatyczną fantazyą i fugą Bacha, którą zagrał znakomicie pod każdym względem. Trudno sobie wyobrazić, aby czyściej i wyraźniej z pod czyjej ręki wyszedł ten utwór; oddanie tej właśnie kompozycyi okazało, że Paderewski jest mistrzem w całem znaczeniu tego słowa. Jeżeli jeszcze za mało może wniknął w ducha tej kompozycyi Bacha, to za to zadowolił najwybredniejsze wymagania w tym względzie wykonaniem mniej grywanej sonaty Beethovena Op. 111. Te *ariette, adagio molte semplice i cantabile* grał niezrównanie, a był to raczej śpiew prosty i rzewny niż gra. Tak gra jeden Paderewski. Jeżeli wykonanie tego utworu wzbudziło entuzyazm, to wzrastał tenże coraz bardziej, im więcej zbliżał się artysta ku swemu właściwemu polu: Szopenowi.

Szumana sonata „*Fis moll*“ op. 11 pośredniczyła między Beethovenem i Szopenem: wątpię, czy można było szczęśliwszy zrobić wybór. Kto raz słyszał aryę z tej sonaty na pysznym instrumencie Steinway'a wyśpiewaną, ten nie zapomni wrażenia tego nigdy.

I oto Szopen. Tutaj krytyka ustaje, jakby Szopen sam grał. Nokturn *G-dur op. 37 No. 2, Mazurek B-moll op. 24 No. 4*, rzadko grywany a śliczny, *Preludynm As-dur op. 28 No. 17 i Etude F-dur op. 25, No. 3* grał niezrównanie; tutaj był w swym żywiole i zapał wzbudził niesłychany. Nie klaskano tylko, lecz krzyczano i wiewano chustkami: „*es tobte Beifall*“, i nie uspokojono się prędzej aż Paderewski nie dodał walców Szopena *As-dur* i *Cis-moll*, ale w tychże obrał artysta może za szybkie tempo.

Po Szopenie Rubinsteina *barkarola F-moll, op. 30 No. 1* i wspaniały walc, który był przejściem do Liszta „*Au bord d'une source,*“ *étude de concert No. 2 F-moll i Rhapsodie hongroise No. 10.* Podziwiać można siły mistrza, który po 2-godzinnej pracy odegrał tak szalonej siły i biegłości wymagającą rapsodyę z ogniem, cechującym węgierską muzykę.

Zdumiewającą jest jego technika, ta biegłość wyrównana i pewność w pasażach, co się nadzwyczaj obok indywidualności do tego przyczyniła, że muzyka Paderewskiego nie robi wrażenia czegoś wyuczonego, tylko genialnej improwizacyi.

Jeżeli ktoś mniema, że zadaniem muzyki jest tak zwana „Poesie der Stimmung“ to znalazł w muzyce Paderewskiego to, czego żądał.

Entuzyazm był niesłychany, który zniewolił artystę do dodania kilku nowych utworów nad program.

Zarzucono go wieńcami, z których jeden od akademików-Polaków z Lipska, a drugi od akademików z Halli. Podnieść należy ofiarność i hojność artysty, który nietylko w Lipsku grał na cele publiczne, ale i w Dreźnie przeznaczył sumę nadesłaną mu na cele dobroczynne.

Z Lipska żegnany na dworcu przez wielbicieli swego talentu, odjechał znowu do Drezna, aby tam koncertować u dworu i ztamtąd udać się przez Wiedeń, gdzie się chciał rozpatrzeć w sprawie wystawienia swej opery, do Pesztu. Poznań przyrzekł odwiedzić w krótkim czasie.

K. W. Ja.

Z niwy powieściowej.

Włodzimierz Koszyc: „W szynelu“. Petersburg u Grendyszyńskiego i Kraków u Anczyca i Sp. 1895.

Sprawa militaryzmu, ciążącego w naszych czasach „zbrojnego pokoju“ jak zmora na piersiach narodów europejskich, wysączającego z nich najlepsze siły żywotne i spychającego je powoli w przepaść i bankructwo, jest obecnie jeżeli nie najważniejszą, to jedną z najważniejszych spraw polityczno-ekonomicznych, a ztąd stałym przedmiotem roztrząsań w prasie i literaturze. Z jednej strony zwraca się bezustannie uwagę na niekorzystne pod względem państwowo-gospodarczym skutki stałego powiększania siły zbrojnej, z drugiej stawia się pytanie, czy militaryzm wogóle w czasach naszych nie jest anomalią, czy nie stoi w sprzeczności z cywilizacyą i godnością człowieka.

Dziełko Koszyca, noszące w tytule miano „obrazka powieściowego“ ma być odpowiedzią na powyższe pytanie.

Na ponurem, wstrętnem tle koszarowego życia w nieoznaczonej bliżej miejscowości galicyjskiej, rysuje autor sylwetkę galicyjskiego chłopka, Bogusia, który upośledzony od natury, niezgrabny i niepojętny, nie umie sprostać należycie nowym swym obowiązkom, ani też odcinać się zaczepiającym, wystawiając się przez to na brutalność kolegów i niższych przełożonych, mianowicie kaprala Korduli. Wyszydzany, bity i poniewierany przy każdej sposobności, znosi cierpliwie wszelkie zniewagi, zewnętrznie zimny i jak głaz nieczuły; ale w głębi jego duszy odzywa się nieśmiały protest przeciw tym brutalnym ludziom, którzy znęcają się nad nim z fantazyi lub z niezrozumiałych mu względów służby, i na dnie jego serca głęboko zamknięte spoczywa pewne niewyraźne poczucie godności człowieczej, które buntuje się przeciw swemu otoczeniu i nowym warunkom bytu.

Naraziwszy się raz bezwiednie kapralowi staje się nieszczęśliwy ofiarą jego zemsty, i denuncyowany za drobne wykroczenie w służbie, zostaje skazany na straszliwą torturę, „zawieszenia na krzyżu“.

Odtąd upada Boguś zupełnie na duchu, bydlęcieje i poddaje się apatycznie swemu losowi, starając go sobie osłodzić nadmiernym używaniem wódki i tytoniu. Straszliwa egzekucya i następujące po niej zaziębienie podkopują w związku z nadużywaniem narkotyków zupełnie z natury słaby jego organizm i wywołują wybuch odziedziczonych po ojcu suchot, na które, uwolniony od dalszej służby, umiera po kilku miesiącach w swej rodzinnej wiosce.

W jednej kampanii z nim odsługuje służbę jednoroczną młodzieniec entuzyasta, który wejrzawszy w bezdeń ludzkiej nędzy, a zapoznawszy się dokładnie z najnowszemi teoryami so-

---

ludzi marnuje swe życie nad sporządzeniem tabaki, wódki i t. d. Wszyscy ci ludzie pracują, lecz czyż rzeczywiście powinno się ich zachęcać do pracy? Lecz zwróćmy się do ludzi nauki, bo może ich tylko trzeba mieć tu na względzie!

Bezustannie zarzucają mnie różnemi dziełami; rozprawami z zakresów sztuki i nauki. Jeden z autorów rozpisał się o chrześcijańskim mistycyźmie — drugi o eterze kosmicznym, trzeci o kwestyi socyalnej, czwarty debatował nad kwestyą polityczną, piąty poruszył kwestyę wschodnią, szósty wreszcie redaguje pismo, mające na celu badanie tajemniczych sił ducha i natury. Wszyscy ci ludzie pracują dla nauki, lecz zdaje mi się, że ta mozolna ich praca ani autorom samym, ani drugim ludziom nie przyniesie żadnych korzyści — powiedziałbym nawet — iż podobne zużycie czasu jest wprost rzeczą szkodliwą. Raz, szkodliwą dla tego, że tysiące ludzi mozoliło się nad sporządzaniem papieru, czcionków i druku do wszystkich tych dzieł i pracowało ciężko, żeby używić i przyodziać tych męczenników nauki, — powtóre, wszyscy ci autorowie, zamiast poczuwać się do winy względem społeczeństwa, bo przecież zawinili również wielce względem niego, jak gdyby grali w karty, lub inne gry hazardowe, z spokojnem sumieniem rozpoczynają pracę która w końcu na nic się nie przyda.

Iluż jest na świecie tych prawdziwie okrutnych ludzi, co są zawsze tak zajęci, iż nawet czasu nie mają zapytać się samych siebie, czy drudzy potrzebują tej ich pracy, nad którą tak pilnie ślęczą, czy przypadkowo ta praca ich nie jest wręcz szkodliwą! Zwróćmy tylko uwagę tym ludziom i powiedzmy im: „Wasza praca z tego, a z tego powodu jest nieużyteczną; przestańcie na chwilę! zastanówmy się nad tą kwestyą.“ Oni nas nie usłuchają i w dodatku odpowiedzą ironicznie: „Dobrze wam tak mówić, skoro nie macie żadnego zatrudnienia, lecz ja mozolić się muszę nad tem. ile razy tego a tego użył ten a ten starożytny autor, lub też pracuję nad zdefiniowaniem formy atomów, zajęty jestem telepatią i t. d.“ Wielce zadziwiło mnie orzeczenie Zachodniej Europy, przez Zolę tak wyraźnie zaznaczone w odezwie do młodzieży, że praca jest cnotą. Podług mnie, chyba tylko „mrówka“, stworzenie bezrozumne i pozbawione wszystkich dążności do dobrego, — mogła według tenoru bajki przypuścić, że praca jest cnotą, z której chełpić się trzeba.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

cyologicznemi, marzy o wysokich celach oświaty i uszczęśliwieniu ludności za pomocą środków prawodawczych. Ukończywszy swe studya w Berlinie, zaręcza się Drzewiecki — tak nazywa autor głównego swego bohatera — z panienką równie jak on egzaltowaną, przepełnioną gorącą miłością ludu i wiarą w cywilizacyę i wysokie cele ludzkości.

Spoglądając na męki biednego Bogusia, któremu próżno stara się dopomódz, i widząc we wojsku jedynie instytucyę, zabijającą ducha i indywidualność, niezgodną z wysokim zadaniem cywilizacyi, traci Drzewiecki równowagę i wiarę w przyszłość. Zdaje mu się, jakoby wszelkie dążenie do postępu było próżnem szamotaniem się ludzkości, walką bezskuteczną, w której demon ciemnoty ustawicznie gasi płomień z żagwi anioła cywilizacyi i strąca w przepaść Syzyfowi kamień wytoczony na wyżynę.

W zwątpieniu jego stara mu się dodać odwagi zajmujący z nim jedno mieszkanie nauczyciel jego dawny i serdeczny przyjaciel, profesor Kowalski, który doświadczony życiem, nie wierzy, aby możliwem było usunąć zupełnie nędzę ze świata i stworzyć raj na ziemi, o jakim marzył Drzewicki, ale patrząc dalej nie wątpił też o przyszłości.

Drzewiecki słucha początkowo z niedowierzaniem i pewnem lekceważaniem wywodów starego przyjaciela, i dopiero złamany egzekucyą, dokonaną na Bogusiu, daje się przekonać, że jeszcze nie wszystko stracone, i zawiodłszy się w swoich oczekiwaniach i ideałach, nie należy jeszcze porzucać nadziei. Wywody Kowalskiego stanowią kwintesencyą utworu Koszyca. Twierdzi on słusznie, że ludzkość, postępując coraz wyżej, nigdy jednak nie wstąpi na wyżyny szczęścia: może znieść obecną nędzę i obecne nieszczęścia, ale na ich miejscu powstaną nowe. Świat przybiera coraz lepsze kształty, "ale zawsze podobny będzie do coraz piękniej rzeźbionego posągu, z utrąconym nosem lub rękoma." Na razie zaś wszystkie obecne niedogodności, niestosowne instytucye, a więc i wojsko, mają prawo bytu „jak woda z Lourdes służy dziś za środek leczniczy". chociaż nauka rozcina już bielmo skalpelem. „Gdy umiejętność zatryumfuje, źródło lourdeńskie wyschnie." Stan obecny jest stanem przejściowym, skazanym na wymarcie, i nie chcąc, aby stan przyszły równy był obecnemu, aby ludzie tak samo cierpieli, jak nieszczęśliwy Boguś, nie trzeba zakładać rąk w zwątpieniu, lecz piąć się wyżej.

Podobną walkę i podobne zwątpienie przeszła narzeczona Drzewieckiego, Jadwiga. Zamierzała podnieść lud wiejski i uszczęśliwiwić za pomocą oświaty, ale założona przez nią szkółka ludowa, upadła dla braku uczni i oporu rodziny i znajomych, a ją samą prześladowano jako rewolucyonistkę. Dopiero pod wpływem nawróconego narzeczonego nabiera nowej odwagi do czynu i dalszej pracy nad rozwojem oświaty, w przekonaniu, że choć pożno, przyjdzie chwila zwycięztwa.

Pod względem zewnętrznego wykonania należy utworek Koszyca do lepszych prób tego rodzaju. Pominąwszy piękny język, żywe i prawdziwe przedstawienie, należy przyznać autorowi, że umiał uchronić się najważniejszej wady podobnych szkiców literackich. Myśl zasadnicza, której rozwiązanie stanowi treść i główny cel utworu, nie wysuwa się nieproporcyonalnie naprzód, jako z góry obmyślona teza, do której mniej lub więcej zręcznie przylepiono w rodzaju przykładu, opowiadanie, lecz wypływa z niego i tworzy z nim harmonijną i okrągłą całość. Charaktery są tylko w grubszych rysach naszkicowane, ale występują pełno z ram obrazka, nie rażą ani jednostronnością, ani przesadą, i opracowane są wszystkie z równą prawdą i równem zamiłowaniem.

Jeżeli co utworowi Koszyca możnaby zarzucić, to zbytni realizm, dochodzący czasami granic naturalizmu, z którym autor przedstawił życie koszarowe, a mianowicie ćwiczenia wojskowe. Ustępy odnośne, wyjęte, jak się zdaje, wprost z życia, rażą swą trywialnością i obniżają nieco poziom całości, chociaż łatwo zrozumieć, że autorowi chodziło o obudzenie wstrętu do tego, co uważa za nieszczęście ludzkości i sprzeczne ze zadaniami cywilizacyi.

Z. Oleski.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ludność Królestwa polskiego.

II.

Faktem ogólnie rzucającym się w oczy wsród dzisiejszej ludności, jest przewyżka kobiet nad mężczyznami. Z wyjątkiem krajów południowych, a więc Włoch, Grecyi, Słowiańszczyzny południowej i niektórych wysp morza Śródziemnego, wszędzie ludność kobieca liczniejszą jest, niż męzka. W Królestwie powtarza się to samo zjawisko. Stosunek do innych państw jest przecież odmienny od tego, jaki widzieliśmy wśród ludności miast i wsi, a mianowicie żaden kraj w Europie nie posiada takiej przewyżki kobiet, jaka jest u nas. W Portugalii, gdzie liczono największą przewyżkę kobiet, wypadało ich 104,4 na 100, w Anglii, Francyi, w Niemczech i Austryi było ich w latach 1881 i 1885 102 na 100 mężczyzn. Tymczasem u nas już 1863 r. na 100 mężczyzn wypada 107,4 kobiet, 1866-ym r. 106,7, w 1890-ym cyfra ta wzrasta do 107,6, wreszcie w 1893 zniża się do 105,6.

Ludność żeńska w ogóle liczniejszą stosunkowo jest po miastach, niż na wsi. I tak w 1890 r. było w miastach na 100 mężczyzn 110,1 kobiet, w powiatach 107,9, w osadach 105,5, a po wsiach 105,1.

Żywioł kobiecy najwięcej przeważać się zdaje w miastach prowincyonalnych, gdzie przewyżka dochodzi do 20 przeszło na 100 (w Kaliszu np. 121 kobiet na 100 mężczyzn, w Płocku 117, w Kielcach 128), oraz w osadach fabrycznych, które zatrudniają przeważnie kobiety robotnice. Tu uderza fakt nader szybkiego zwiększania się ludności kobiecej; w Żyrardowie np. w 1890 r. na 100 mężczyzn było 123,4 kobiet, w 1893-im 129,1. Prawda, zastrzedz się trzeba, że przy obliczaniu widocznie są w wielu cyfrach pomyłki i tak w miasteczku Kalwaryi np. dla 1890 r. liczy statystyka 123 kobiet na 100 mężczyzn, dla 1893 już tylko 80. Musiałaby zajść specyalna przyczyna odpływu żywiołu kobiecego, aby w ciągu lat trzech stosunki w takim stopniu zmienić się mogły. Jeżeli jednak liczne omyłki wkradły się przy ostatecznem redagowaniu, to obliczeniom dla całych gubernij przyznać przecież można choć względną dokładność.

Największą przewyżkę liczby kobiet spotykamy w gubernii suwalskiej 110,4, w miastach zaś nawet 118 na 100 mężczyzn, w gubernii kieleckiej 109, oraz 116 po miastach. Najpomyślniej ułożyły się stosunki płci w gubernii siedleckiej i radomskiej, w których liczba kobiet tylko o 2 na 100 przewyższa ludność męzką.

Czem wytłomaczyć taki nienormalny układ stosunków? W oddzielnych guberniach, np, w suwalskiej, przypisać by go można wychodźtwu mężczyzn za morze, w miastach wielkich jak Warszawa (109,7 na 100 m.) przewadze służby żeńskiej nad męzką, w osadach fabrycznych, w których zatrudniane są przeważnie robotnice, rzecz jest jasną. Wreszcie w miastach prowincyonalnych ubytek mężczyzn wytłomaczyć by można większą ruchliwością męzkiego żywiołu, który ucieka od stosunków drobnomiejskich i prowincyonalnego zastoju. Ale tak wielka przewyżka kobiet w całym kraju objaśnia się tylko poborem wojskowym, który siły męzkie odciąga, wojsko zaś, znajdujące się w kraju do obliczeń włączonem nie jest.

Nawet wiele dokładniejsze od naszej statystyki, jak np. austryacka, zdobyć się nie mogą na obliczenia ludności pod względem narodowościowym i u nas przeto zrezygnować z tego należy, zadawalając się ogólną cyfrą 1,06 proc. cudzoziemców w kraju. Do oceny narodowości dojdźmy przeto raczej pośrednio przez rozpatrzenie stosunków wyznaniowych.

Podług wyznań dzielimy ludność na cztery główne grupy: prawosławnych, katolików, protestantów i żydów. Ponieważ w ciągu lat trzech ostatnich zmiany są zbyt nieznaczne, aby na nie zwrócić uwagę, porównajmy przeto stosunki z okresu lat trzydziestu, a więc rok 1863 z 1893-im. Na 100 ludności było osób według wyznań:

	1863 r.	1893 r.
Prawosławnych	4,7	5,0
Katolików	76,3	75,5
Protestantów	5,8	5,6
Żydów	13,1	13,9

Dostrzegamy pewien ubytek w stosunku ludności katolickiej do ogółu, po za tem jednak zmiany są niewielkie. Z ludności prawosławnej największy jej procent, w stosunku do ogółu, znajduje się w gub. lubelskiej i siedleckiej, po za tem spotykamy ją przeważnie po miastach, jako ludność napływową z cesarstwa. Protestanci zgromadzili się głównie w gub. piotrkowskiej (13,6 na 100) i kaliskiej (8,9 procent). Rozmieścili się oni po miastach (28,7 procent) i po wsiach jako koloniści rolnicy (73,9 na 100 całej ludności protestanckiej. W miastach i po wsiach mają oni swoje usprawiedliwienie, racyę bytu, są żywiołem pracowitym, a tylko w części inoplemiennym, gdyż mamy wielu polaków-protestantów.

Najciekawsze są stosunki ludności żydowskiej. Tu wiara łączy się zawsze z narodowością, a cechy plemienne są tak wybitne, iż wszędzie tę samą rolę gospodarczą izraelskiemu elementowi wyznaczają.

Wśród ludności pojedyńczych gubernij żydzi stanowią żywioł niejednakowo reprezentowany, gdzie liczniejsza jest ludność miast, a zwłaszcza miasteczek, tam i element semicki najbujniej się rozkrzewił. Porównajmy znów najnowsze dane z rokiem 1863. Wśród ludności całej żydzi stanowili następujące odsetki:

	w 1863 r.	w 1893 r.
Warszawska	20,0	17,8
Łomżyńska	9,2	16,3
Siedlecka	9,1	15,9
Radomska	9,0	14,0
Lubelska	11,6	13,8
Suwalska	10,7	13,4
Piotrkowska	9,7	13,0
Kielecka	6,3	11,8
Płocka	5,9	11,2
Kaliska	7,9	8,8

W ogóle liczba żydów z 815,433 w r. 1863 wzrasta do 1,224,652 w r. 1893, a więc przybywa jej 50 procent w tym samym czasie, gdy cała ludność kraju wzrasta o 46, katolicka zaś o 45 na sto. Dążność do przewagi liczebnej żywiołu semickiego jest więc bardzo widoczną. Jak wykazuje porównanie pojedyńczych gubernij, przyrost ludności żydowskiej nie zależy od przemysłowego rozwoju okolicy, który jest warunkiem, przyciągającym protestancką, przeciwnie, liczba żydów wzrasta najszybciej w guberniach czysto rolniczych, jak łomżyńska, siedlecka, radomska. Nie wieś i nie gospodarstwo rolne pociąga ich tu przecież, gdyż, jak wiadomo, żydzi są ludnością par excellence miejską, a statystyka wykazuje, że 85 na 100 zamieszkuje miasta, miasteczka i osady, że wsród ludności miejskiej stanowią oni 43 proc., w miasteczkach i osadach 48, a po wsiach tylko 2,5 procent. Cyfry więc dowodzą, że ludność żydowska jest elementem pasorzytniczym, który mieszkając wsród ludności wiejskiej, wziął na siebie wszelkie interesy handlowe, pośredniczące, lichwę, szynki itp. Wszystko to nie są szczegóły nowe, wykryte przy pomocy statystyki, ale stosunki rozsiedlenia stwierdzają tu fakt znany, że żydzi w sześciu guberniach dają więcej, niż połowę mieszkańców wśród ludności miejskiej. Tylko w jednej gubernii piotrkowskiej, a więc najwięcej przemysłowej, ludność żydowska w miastach stanowi 31,4 procent całej, w kaliskiej również nie jest ona względnie liczną, gdyż dochodzi do 42,3 procent, w siedleckiej przecież widzimy już 65,4, a w łomżyńskiej i suwalskiej 58 na 100 ludności miejskiej.

Stosunki te mimowoli nasuwają nam wnioski ogólniejsze. Nie trzeba być antisemitą, aby przyznać, że ludność żydowska w dzisiejszym

swoim składzie i z dotychczasowym kierunkiem działalności jest w kraju naszym czynnikiem szkodliwym, że świadczy ona dziś, jak świadczyła przed stu laty i dawniej jeszcze o braku żywiołu miejskiego, w obec czego rola społeczna, którą spełniają miasta, wypełniana jest u nas przeważnie przez żywioł semicki. Rozsiedlenie ludności izraelskiej jasno wskazuje, że trzyma się ona przeważnie takich okolic, w których stosunki społeczne najmniejszym uległy zmianom, tam zaś, gdzie, jak w gub. piotrkowskiej, wytworzyły się zakątki niemal dziwne na tle naszego kraju, gdzie warczą maszyny i coraz więcej wznosi się kominów fabrycznych, tam żywioł semicki jest najsłabszy. I tak np., nie mówiąc o Łodzi, która, jako znaczne miasto, posiada mnóstwo zajęć handlowych, pośredniczących, a gdzie pomimo to żydzi co do liczby pozostają w tyle za większością miast gubernialnych lub powiatowych (24 proc.), na 100 ludności wypada żydów w Żyrardowie 5,3, w Jeziornie 3, w Dąbrowie Górniczej 2,5 itp. Zarzucą nam, że właśnie w przedsiębiorstwach przemysłowych dużo jest kapitału należącego do żydów, ale widać, że kapitał ten zatrudnia ludność przeważnie niesemicką, że, o ile zatrudnia, odciąga ją od szkodliwego dla ludności polskiej pośrednictwa handlowego i że wreszcie i sam ten kapitał chętniej zwraca się ku przedsiębiorstwom handlowym, niż przemysłowym, najchętniej zaś działa w tradycyjny sposób na drobną skalę wśród ludności wiejskiej. Z danych statystyki ludnościowej trudno wyciągać szersze wnioski: jednakże rozsiedlenie ludności żydowskiej zbyt wyraźne daje nam wskazówki o jej charakterze, aby nie można było widzieć w niem związku z ogólnym charakterem żywiołu semickiego w naszym kraju.

S. Z. Dański.



Zdobycz Darwinizmu.

W obozie Darwinistów święcą w najświeższym czasie tryumf niepospolity, bo jak pisma naukowe, poświęcone biologii i antropologii, donoszą, odkryto rzekomo kopalne szczątki tworu, pośredniego między typem ludzkim a zwierzęcem, (*Pithecantropus erectus*).

Jeżeli się uczeni nie łudzą, rok upłyniony możnaby zaliczyć do najszczęśliwszych dat dla wiedzy. Chemia uczyniła tak znakomitą zdobycz, jak odkrycie trzeciego gazu powietrza, biologia zaś podobno również wielki, jeśli nie donioślejszy pozyskała klejnot, wykrywszy kopalne szczątki, dawno już przez darwinistów przepowiedzianego tworu, pośredniego między człowiekiem a małpą. Nieraz już z powodu podobnego odkrycia wszczynano alarm, po bliższem atoli zbadaniu okazywało się zwykle, iż z czem innem miano do czynienia: tym razem wszakże, prawdziwość faktu ma nie ulegać wątpliwości. Szczęśliwym odkrywcą jest lekarz holenderski, osiadły w Batawii, Eugeniusz Dubois; odkrycie swe zrobił na Jawie, a znalezione szczątki składają się z doskonale zachowanej czaszki, oraz o 20 metrów opodal spostrzeżonych — kości udowej i zęba. Powiadomione o doniosłem tem zdarzeniu Towarzystwo antropologiczne w Paryżu, na posiedzenie d. 3 stycznia r. b. zajęło się bliżej niniejszą kwestyą.

Głos zabrał słynny antropolog M. Manouvrier. Uważa on czaszkę Pithecanthropusa, z budowy jej, za pośrednią między czaszką małp wyniosłych (anthropoidów) a tubylca lądu australskiego; posiada ona w stopniu wyższym jeszcze cechy czaszki z Neanderthalu (miejscowość w pobliżu Mettmann w Prusiech, gdzie znaleziono kości człowieka przedpotowego) Średnica podłużna wynosi 185 mm., poprzeczna 130 mm., pojemność 90—100 ccm., więc o wiele wyższa od pojemności u największego goryla, lecz niższa, niż u człowieka pierwotnego. Wśród ludzi pojemność taka widzieć się daje tylko u osobników kretynowatych. Ząb trzonowy wielkości kolosalnej; jestto trzeci i górny ze strony prawej; zbliża się bardziej do zęba małpiego, niż ludzkiego. Już sama czaszka wystarcza, zdaniem mówcy, do wygłoszenia zdania, iż należy ona do istoty, zajmującej środek między człowiekiem, a małpą. Położenie otworu potylicowego i tylne zarysy głowy wskazują, iż się ostatnia, bardziej niż u którejkolwiek z wyższych małp, opierała na kolumnie kręgowej. Zbliża się pod tym względem do niej poniekąd głowa gibona, który też kroczy z większą niż inne małpy łatwością, lecz inne cechy gibona bardziej go oddalają od człowieka, aniżeli odpowiednie cechy — czaszkę, o której mowa. Z danych tych można wnioskować, iż owa istota mogła chodzić na dwóch kończynach. Zbadanie kości udowej potwierdza to przypuszczenie. Co do niej wszakże, jako znalezionej zdala od czaszki, nie można być pewnym, czy należy do tegoż gatunku, jakkolwiek E. Dubois utrzymuje, iż natura miejsca, gdzie znalezionemi zostały szczątki, nie pozwala wątpić, aby nie należały one do jednego okresu. Kość udowa znacznie już więcej od czaszki zbliża się do ludzkiej, wewnętrzna tylko linia rozdwojenia linii chropowatej zaznacza ekskrescencyę kostną bardzo rozległą, co Dubois uważa za skutek obecności tętniaka, mówca zaś za skostnienie włókien ścięgnistych przyczepu mięśniowego. Kość wykazuje wydatność kolumnową wybitną, która, służąc za przyczep dla mięśnia udowego, silniej rozwinięty u człowieka, niż u anthropoidów, gra niezmierną w chodzeniu rolę i ztąd jest cechą swoiście ludzką. We wnioskach, kładzie Manouvrier akcent na doniosłość kwestyi. Jakkolwiek odkrywca, zdaniem jego, w niektórych szczegółach przesadza, są to wszakże drobnostki drugorzędne, nieujmujące nic oryginalności odkryciu.

M. Duval zaznacza nadzwyczajną doniosłość faktu, uważając go za najwybitniejszy z wygłoszonych z trybuny Towarzystwa od czasu założenia. Proponuje wystosować prośbę do rządu holenderskiego o wykonanie odlewów i rozpowszechnić wiadomość, umieściwszy rysunki w biuletynach Towarzystwa. Uznaje on różnicę między czaszką a kością udową, lecz nie dziwi się jej. Zdaniem jego, człowiek zaczął chodzić na dwóch kończynach jeszcze przed wyższem rozwinięciem swej inteligencyi. Stał się on człowiekiem dzięki kości udowej, zanim stał się nim, dzięki czaszce.

Dr. J. Sz.



KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków 26 lutego.

(Kolej do Zakopanego. Bank galicyjski. Dom akademicki. Prof Rydygier przeciw kobietom na uniwersytetach. Ks. Stojałowski redivivus. Zapis na Akademią i gimnazyum w Cieszynie. Miscelanea. Sp. Marjan Baraniecki.)

W Izbie hadlowej krakowskiej rozbierano sprawę kolei lokalnej z Chabówki do Zakopanego. Przy rewizyi trasy wąsko-torowej brali udział delegaci Izby, a z aparatu biura kolejowego przy wydziale krajowym odnosiło się wrażenie, iż poczyniono w Wiedniu wszelkie kroki do pomyślnego załatwienia tej sprawy i że szło tylko o uchwalenie przez Sejm potrzebnych środków pieniężnych; — tymczasem ministerstwo handlu zawiadomiło Izbę, iż na skutek sprzeciwienia się władzy wojskowej kolej ta od Chabówki do Nowego Targu (tj. na połowie całej drogi) musi mieć tor normalny, a to ze względu na możliwe przyszłe połączenie tej linii z Nowym Sączem, oraz projektowanemi kolejami węgierskiemi. W ten sposób sprawa kolei do Zakopanego, którą już uważano za zupełnie dojrzałą cofnęła się znowu wstecz i niewiadomo kiedy doczeka się załatwienia.

Nadzwyczajne ogólne zebranie akcyonaryuszy Banku galicyjskiego dla handlu i przemysłu zezwoliło zarządowi Banku na podwyższenie kapitału akcyjnego do wysokości dziesięciu miljonów, pozostawiając mu po uzyskaniu zatwierdzenia rządowego prawo emitowania akcyi w miarę potrzeby częściowo lub w całości. O nadziejach przywiązanych do tego podwyższenia kapitału akcyjnego pisałem przed paru tygodniami, a więc dziś ich nie powtarzam.

Senat akademicki nie przychylił się do prośby wzięcia na siebie dalszej akcyi w sprawie budowy „Domu akademickiego“ o co się starał komitet obywatelski, zajmujący się zbieraniem na ten cel składek. Na postanowienie to Senatu wpłynęły bardzo racyonalne powody. Senat doprowadziwszy budowę „Domu“ do skutku, musiałby przyjąć nad nim nadzór, wskutek czego „Dom“ stałby się rodzajem internatu, co zapewne nie leżało w chęci ofiarodawców! Senat ma wprawdzie obowiązek czuwać nad moralnością i prowadzeniem się młodzieży, ale byłoby niestosownem, gdyby wkraczał w sferę ich życia prywatnego, co stałoby się nieuniknionem przy objęciu nadzoru nad „Domem“. Już samo rozstrzygnięcie pytania, komu ze zgłaszającej się młodzieży udzielać prawa bezpłatnego mieszkania w Domu akademickim, naraziłoby Senat na nieprzyjemności, bo rzecz prosta, że pomawianoby go o system protekcyjny, o popieranie dobrze widzianych, o prześladowanie zwolenników pewnych zapatrywań politycznych i społecznych. Gdyby zachowanie się młodzieży, zamieszkującej „Dom akademicki“, spotykało się z zarzutami, to zarzuty te zarówno stawiane byłyby Senatowi z powodu braku nadzoru, a ścisły nadzór, jak to nadmieniłem, wytworzyłby instytucyę, nieodpowiadającą życzeniom ofiarodawców. Przez odmówienie komitetowi obywatelskiemu pozbył się Senat jednego tylko kłopotu, ale nie wie, jak się pozbyć drugiego i to bardzo niebezpiecznego, bo sprawa to nie z jakimś komitetem, lecz z zszeregowaną i wojowniczo usposobioną płcią piękną. Wciąż się toczy walka, czy ją dopuścić, czy nie do wykładów uniwersyteckich. Echa tej walki odzywają się od czasu do czasu w „Przeglądzie Lekarskim“. Pismo to świeżo zamieściło „kilka słów poważnych w tej sprawie tak modnej“ pióra prof. Rydygiera, który jako chirurg dokonał od razu cięcia cesarskiego. Twierdzi on naprzód, że równouprawnienie kobiety z mężczyzną jest nonsensem“, bo się sprzeciwia „odwiecznym prawom natury“, a następnie dowodzi, że „ani fizyczne, ani umysłowe siły kobiet nie dorosły do zawodu lekarskiego“ i powątpiewa: „czy kobiety poświęcające się medycynie, zdolne są do krzewienia oświaty“; nie może sobie wyobrazić, „jakby ta oświata wyglądała“? Przeciw tak kategorycznemu rozwiązaniu kwestyi walczy z ironią nie podpisany autor czy autorka w artykule, zamieszczonym w „Nowej Reformie“.

Ks. Stojałowski *redivivus!* Donoszą z Wiednia, że pewnego dnia bez wszelkiej zapowiedzi znalazła się w tem mieście deputacya włościan z trzech powiatów: bielskiego, wielickiego i wadowickiego, która przywiozła ze sobą memoryał do ministerstwa, opatrzony mnóstwem podpisów z dołączeniem do niego całego stosu oryginalnych listów chłopskich. Tak memoryał, jak i Listy wypełnione są przedewszystkiem skargami na presyę przy wyborach i na uciążliwości z strony władz rządowych. W dalszym ciągu poruszają włościanie liczne sprawy ich obchodzące, a wreszcie występują z obroną ks. Stojałowskiego, żalą się, iż bywa on przed

dym zwołanym przez siebie wiecem ludowym aresztowanym i żądają rozpatrzenia sprawy, tyczącej się nie wypłaconych mu dochodów z parafii kulikowskiej. Deputacyi nie przyjął dr. Madejski, a inni ministrowie odesłali ją do prezesa ministrów ks. Windischgraetza, który miał być zdziwiony, że deputacyę do niego odesłano. Na oprawie memoryału znajdował się charakterystyczny napis: *Erster Band*, będący zapowiedzią dalszych memoryałów z dołączeniem listów chłopskich. Sprawa ta jest tem ciekawszą, iż ks. Stojałowski znajduje się obecnie w więzieniu, a więc i z po za murów jego zdolny jest do kierowania, jeżeli nie całym ruchem ludowym, to przynajmniej jego częścią.

Akademia Umiejętności otrzymała znów nowy, poważny zapis, natnralnie jak zwyklę nie z Galicyi. Zmarły w końcu stycznia r. b. w Warszawie śp. Konstanty Kmita z powiatu teliszewskiego, z gubernii kowieńskiej, prawie cały swój majątek wynoszący 25,000 rubli przekazał akademii, przeznaczając połowę na założenie gimnazyum polskiego w Cieszynie, a drugą połowę na wydawnictwa treści historycznej, lub naukowej w języku polskim.

Dr. Stanisław Estreicher zatwierdzony został przez ministra oświaty jako docent prawa niemieckiego na uniwersytecie Jagiellońskim.

W dzień intronizacyi biskupiej odbyły się dwa zebrania robotników; policya przyjęła odmienny system i pozwoliła im przejść się po mieście i zaśpiewać pieśń robotniczą; rozeszli się spokojnie do domów, obyło się bez niepokojów i awantur, które system dawny sprowadzał. — W ubiegłą sobotę, kto mógł, wybiegł w stronę kopca Kościuszki, aby przypatrywać się ciekawym wyścigom na *Ski*, urządzonym przez wojskowość pomiędzy Zwierzyńcem a Wolą Justowską. — Przed kilku dniami w Towarzystwie Przyrodników Imienia Kopernika miał wykład prof. H. Olszewski o argonie, nowym składniku powietrza. — Namiestnictwo zatwierdziło statut stowarzyszenia „Czytelni dla kobiet“: jeden z paragrafów statutów zamyka przed nosem drzwi czytelni mężczyznom — uprzejmością tego nazwać nie można. — Erazm Jerzmanowski nadesłał na ręce dra Asnyka 2000 złr. na budowę szkół; przeznaczono je na szkołę w Białej. — Teatr przygotowuje głośny utwór Hauptmana „Hannele“.

Po napisaniu korespondencyi dowiaduję się o śmierci dra Marjana Baranieckiego, profesora matematyki na uniwersytecie Jagiellońskim. Zmarły, cieszący się wielkiem uznaniem za prace z dziedziny nauk matematycznych, był dzieckiem Warszawy, gdzie też wydał wiele dzieł matematycznych. Przed kilku laty zupełnie oociemniał. Zmarł w sile wieku, nie miał bowiem jeszcze lat 50ciu.

K. Bartoszewicz.

NA WYŁOMIE.

(Wiersz Asnyka. — Czy „Dziennik“ zrozumiał przestrogę? — Milczenie „ładu i porządku“. — Maska. — Zapytanie.)

Gdy przed dwoma tygodniami zamieściliśmy prześliczny wiersz „Przed jutrem“, napisany przez Adama Asnyka dla „Przeglądu Poznańskiego“, a śpiewający „Memento“ tym wszystkim, którzy oślepieni światłem nowych haseł i przerażeni alarmem najświeższej ewolucyi w społeczeństwie naszem, oczy odwracają w trwodze szalonej, lub zdeptać pragną „młodą, silną zieleń“, — nie przypuszczaliśmy ani na chwilę, że właśnie „Dziennik Poznański“, — owa „teraźniejszość zwiędła“, — o której mówi poeta, - pospieszy przedrukować (oczywiście bez podania źródła) czarującą pieśń jutrzenkową i wyrok potępienia dla własnej roboty. Snać „teraźniejszość zwiędła“ nie zrozumiała, że wielki poeta zaśpiewał swoje „Przed jutrem“ nam ku nadziei, jej ku przestrodze, że zasłuchany w bojowe gwary naszych walk domowych i zapatrzony w ten tłum szeroki, idący ścianą w bój z kolosem zwietrzałym, wydobył z swej lutni pieśń pełną wiary i filozoficznego spokoju, pieśń wróżącą życie tym, którzy „z obumarłych tkanek“ wylatują „na skrzydłech motyla“ i nie odstraszeni „rozpaczliwą skargą“ dawnych form bytu społecznego, pospieszają „zrzucić korę zbutwiałą“. Ileż to razy w chwilach burzliwych zapasów politycznych rozwijaliśmy na stronnicach „Przeglądu“ złotą przędzę Asnykowskich idei, ileż razy usiłowaliśmy w szarej, codziennej prozie zwrócić uwagę zaskorupiałych przeciwników na owe prawa ewolucyi społecznej, które w tak misternych wiązaniach wyśpiewał *El..y* natchniony:

Przyszłość ma prawa silniejsze i przed nią
Ustąpić musi teraźniejszość zwiędła,
Chociaż chce chwilę przedłużyć poprzednią
I trwać w postaci, jaką się oprzędła.

. . . .

Swiat zrzucić korą zbutwiałą pospiesza,
Bo ją rozsadza młoda, silna zieleń —
Nienarodzonych niezliczona rzesza
Z niecierpliwością czeka chwili wcieleń.

. . . .

Ci, którzy patrzą na dzisiejszy przełom
Pod nowych haseł i dążności wodzą,
Muszą złorzeczyć bezlitośnym dziełom,
Któremi dzieci w pierś macierzy godzą.

Musi ich trwożyć ten szalony zamach,
Który pozornie zrywa wszelkie węzły,
I w zacieśnionych nie mieści się ramach
Pojęć, co w martwym zastoju uwięzły.

A przecież cała ta burzliwa siła
To zawsze tylko ciąg przeszłości dalszy —
W jej łonie dawno jako zaród tkwiła,
Pragnąc osięgnąć rozwój doskonalszy.

. . . .

Gdy się na światło dobędzie z ukrycia,
Spadnie z niej kształtów pierwotnych ohyda —
I pojednana z warunkami życia
Swieża latorośl, świeże kwiaty wyda.

I to, nad czego boleliśmy stratą,
Znów odświeżonym zajaśnieje bytem,
Łącząc przeszłości spuściznę bogatą
Z nowych porywów młodzieńczym rozkwitem.

Czyżby „Dziennik Poznański“ nie zrozumiał intencyi wielkiego poety? Czyż nie zarumienił się wobec potęgi strof Asnykowskich, — on, który „młodą zieleń“ zaspami piasku lotnego i gradem kamieni zadusić pragnął, — on, który zatrwożony o byt „obumarłych tkanek“ uderzał w tamtam świecki i kościelny, krzycząc na całe gardło, że duch „Kościeleckich anarchistów“ panoszy się na poznańskiej ziemi, i zwołując „mężów ładu i porządku“ na bój śmiertelny z bufcami młodych „intruzów“. A może przedrukowanie Asnykowskiej poezyi jest pierwszym sygnałem odwrotu? Jeżeli to przypuszczanie nie jest błędnego optymizmu owocem, to bez wahania serdecznym dłoni uściskiem powitamy w obozie naszym „nawróconego“, bo przecież mówi nam pismo święte, że milszą Bogu jedna zbłąkana i na prostą drogę sprowadzona owieczka, niż tysiące wiernych.

Chwilowo jednak „Dziennik — konwertyta“ tańczy przed nami w znaku zapytania i nie przedstawia żadnych gwarancyi, że oswobodzi się dumnie z więzów zachowawczo-klerykalnych i wziąwszy rozbrat z tradycyonalną hypokryzyą, w boju o prawdę, światło i postęp z nami się połączy. W ubiegłym tygodniu zapisaliśmy w łamach „Przeglądu“ gorszący występek jednego z filarów Dziennikowego kierunku, — zapisaliśmy fakt zerwania solidarności narodowej przez tego właśnie, który namiętnie w obronie jej występował i który z urzędu powinien być solidarności tej najczulszym opiekunem i stróżem. Prawdziwość rewelacyi naszej nie ulega najmniejszej wątpliwości, a mimo to „Dzien. Poz.“ i „Kuryer“, poinformowane najdokładniej o całej sprawie, milczą jak zaklęte.

Cóżby powiedzieli mężowie „ładu i porządku“, gdyby którykolwiek z chorążych przeciwnego kierunku targnął się na ową tak głośno reklamowaną solidarność wyborczą? W uszach nam jeszcze dzwoni to słowo klątwy, ten głos wołający o pomstę do nieba, gdy cząstka obywatelstwa polskiego oderwała się od armii narodowej i z własnym kandydatem przystąpiła do urny wyborczej, lubo kandydatem tym nie był Niemiec, lecz Polak — patryota. A dziś, jaki spokój dyskretny! Cyt! Proszę o wielką ciszę, bo winowajcą jest mąż „ładu i porządku“. Zaśpiewacie może, że oskarżony położył wielkie zasługi około sprawy publicznej i dla tego karcić występków jego się nie godzi. Lecz któż to powiedział, że wina winą już nie jest, gdy na piersiach obżałowanego błyszczą medale zasługi. Wiemy, że w takich warunkach serce ludzkie w żalu się rozpływa i uczucie to obcem nam nie było, gdy w łamach pisma naszego pojawiło się słowo: „Winny“, — a mimo to usłyszeliście je wyraźne i pełne. Lecz wy milczycie, — nie z wdzięczności dla oskarżonego, lecz z stronniczego wyrachowania, w interesie koteryi i kliki. Gdy z drogi obowiązku zboczy wasz przeciwnik, wtedy nie pytacie o zasługi jego, wtedy stos budujecie — niech ginie! Jacy wy nizcy jesteście i mali! Niech żyje „ład i porządek!“

Powiedział pewien feljetonista francuzki, że dobrym dziennikarzem ten tylko być może, kto na progu redakcyi razem z kaloszami zostawia sprawiedliwość. Jeżeli słowo to jest prawdziwem, to w konkursie dziennikarstwa europejskiego nasze wielkie organy jako ostatnie nie staną u mety. Umiecie milczeć tam, gdzie wołać trzeba, — umiecie kłamać tam, gdzie przeciwnika nie zgnębicie prawdą. Feljetony moje ostatnie, poświęcone taktyce „Kuryera Pozn.“ uchyliły rąbek zasłony z tej iście ultramontańskiej przewrotności, starającej się wmówić w czytelników swoich, że „Przegląd“ nie ma nic pilniejszego do roboty, jak walczyć z religią, Kościołem i duchowieństwem.

Pierwsze lepsze słowo wyrwane ze związku, pierwsza lepsza parabola lub zwrot figuryczny wystarczają zupełnie, aby redakcyę naszę przedstawić jako ognisko herezyi i ukuć po swojemu denuncyacyę. Cele takiej metody są jasne. Scharakteryzowałem je nieraz otwarcie, a dziś tym „obrońcom Kościoła“, mającym siedlisko swoje w „Kuryerze“, przypominam słowa wierzącego katolika *de Sacy*, zwrócone do zelotów ultramontańskich: *„Nous portons presque tous le masque. Arrachons le; que trouverons nous? Tout sauf la réligion.“*

* * *

Zapytanie. Czemu komitet wyborczy miasta Poznania, mimo złożenia mandatów swoich przed czterema miesiącami, nie zwołuje zebrania celem wyboru nowego komitetu. Czy to strach przed utratą władzy? Czy dzieło zakulisowych kierowników, lękających się, że nowy komitet tańczyć nie będzie według ich piszczałki? Obywatelstwo poznańskie zaczyna już tracić cierpliwość.

Sulla.

S p r o s t o w a n i e. W ubiegłym tygodniu zakradła się do feljetonu przez nieuwagę korektora następująca omyłka: Zamiast „Szwajcarya, zrzucająca jarzmo francuzkie“, czytać należy: „S z w a j c a r y a, z r z u c a j ą c a j a r z m o h a b s b u r g s k i e“. Przypisek Red.

KRONIKA LITERACKA.

Wiktor Gomulicki. Jeden z nowych. Nowele, studya i obrazki, Warszawa. Wilno, Józef Zawadzki, Petersburg, 1895 r., str. 276.

Wykwintny kolorysta, okraszający dar obserwacyjny szczerą poezyą i czuciem, dalekiem od zdawkowego sentymentu, wydał nowy zbiór nowel, studyów i obrazków. Gomulicki należy do tych pięknych, cieplarnianych talentów, które

tworzą mało; ale zarówno jego poetyckie strofy natchnione, jak i z życia wyrwane obrazy, skończonemi zawsze dziełami są sztuki. Nie dla tłumów pospolitych tworzy Gomulicki, więc się nie od tłumów może spodziewać laurów sławy. Można nawet przypuszczać, że unika, niby złej szarańczy, popularności krzykliwej i że mu wystarcza wysokie uznanie umysłów wybranych i serc subtelnych. W świeżo wydanym tomie spotykamy jedenaście nowych utworów nowelistycznych autora „Prawa Maltusa“. Do najpiękniejszych w tym zbiorku należą nowele: „Obowiązek“, „Czy kochała?“, odsłaniające rąbek tajemnic duszy kobiecej, albo zagadkę psychologiczną rzucające olśnionemu pierwszorzędnemi zaletami stylu czytelnikowi. W ślicznym obrazku weneckim „Gołębie“, na poły w żartobliwym, na poły w romantyczyym tonie trzymanym. stara historya zdradzonej miłości nabiera pod piórem Gomulickiego nowego a niewysłowionego uroku. Pełne myśli głębszej są „Kryptogamy“ i „Legenda o miłości“, w noweli zaś „Jeden z nowych“ wybornie schwycony jest typ dzisiejszego „schyłkowca“, zatruwającego serce i umysł młodego dziewczęcia. Pod względem technicznym ukazały się utwory Gomulickiego w nader ponętnej sukience, co honor czyni starej firmie drukarskiej Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

* * *

Konfederaci barscy na Syberyi (1774) wydał A. Kraków, nakład redakcyi „Świata“ 1895, str. 160.

Wydawca niedawno odkrył nieznany rejestr rękopiśmienny nazwisk konfederatów barskich, którzy wbrew wszelkiemu prawu wywiezieni zostali na Sybir przez gospodarującą w Polsce Moskwę. Znajdował się między nimi pułkownik Belcour, który uwolniony w roku 1773 złożył obszerną relacyę stanom i królowi, przedstawiając zarazem ów „regestr konfederatów“. Było ich 5415, zacząwszy od marszałków, komendantów, a skończywszy na trzech żydach i 44 maroderach. Największa ilość byla jeźdźców (1859), towarzyszów koronnych (1169) i piechurów (1029). Belcour opowiada ich smutne losy. znęcania się nad nimi siepaczy wszelkiej rangi. To też nie wszyscy zdołali wytrzymać i wielu zmarło od razów i we więzieniu, część zaś mniej mająca odwagi do znoszenia prześladowań, porzuciła wiarę lub dobrowolnie wstąpiła w szeregi wojska rosyjskiego. Znaczną część zmuszono gwałtem wejść w te szeregi. Pomijając ciekawość, jaką ich losy obudzić mogą, książka jest ważnym przyczynkiem dla historyi naszych rodzin, nie ma bowiem prawie nazwiska szlacheckiego, któregoby się w tym rejestrze nie znalazło, niektóre zaś występują w znacznej ilości. Samych Adamowskich naliczyliśmy sześciu, Andrzejowskich trzech, Baranowskich siedmiu, Bartoszewiczów czterech, Boguckich czterech, Bielskich czterech itd. Rejestr jest bardzo szczegółowy, bo nie tylko rozdziela konfederatów według ich stopni, ale podaje spis tych, co dobrowolnie zostali, co przyjęli inną wiarę, którzy poumierali, zostali wzięci lub dobrowolnie weszli do wojska rosyjskiego itd. Starannie zebrane przez wydawcę szczegóły o Belcourze, oraz wzmianka o losie konfederatów ze źródeł rosyjskich uzupełniają ten ważny przyczynek do dziejów konfederacyi barskiej. *K. B.*

* * *

Jakób Burckhardt. Kultura odrodzenia we Włoszech tom I. Kraków, nakładem księgarni Spółki wydawniczej 1894 str. 368.

„Dzieło Burckhardta odznacza się takiem bogactwem wiedzy, pisane jest w duchu tak silnym i głębokiem, że nie podobna objąć go od razu, lecz trzeba się wczytać w nie przez długie lata“ — temi słowy dr. Hubert Janitschek ocenia dzieło, które w krótkim czasie doczekało się w języku niemieckim trzeciego wydania. Walka między stolicą apostolską a cesarstwem nadała Włochom odmienny i nadzwyczaj różnorodny ustrój polityczny; pomiędzy temi dwoma potęgami istniało mnóstwo tyranii i republik, w których po raz pierwszy się rozwijał samodzielnie europejski duch państwowy. Dla tego też Burckhardt rozpoczyna od charakterystyki organizacyi państwowej w XIII i XIV wieku we Włoszech. W organizacyi tej leży najsilniejszy powód ówczesnego rozwoju Włochów i utworzenia z nich nowożytnych ludzi: element subjektywny wystąpił w pełnych formach, człowiek stał się duchową jednostką. To znowu naprowadza Burckhardta do historyi rozwoju jednostki włoskiej, do skreślenia podnoszącego się indywidualizmu, którego wynikiem był wzrost sławy nowożytnej. Powstała cześć dla wielkich poetów, cześć dla grobów sławnych ludzi, dla własnych świętych, dla starożytnych nawet współziomków i współobywateli. Często straszny czyn płynął z chęci spełnienia czegoś wielkiego i pamiętnego. Tę ambicyą i wysoce rozwinięty indywidualizm trzymały w karbach żart, dowcip i szyderstwo, których dzieje wypełniają dalsze rozddziały. W trzeciej części pierwszego tomu traktuje Burckhardt odrodzenie starożytności. Kiedy za granicami Włoch szło tylko o zużytkowanie naukowe i refleksyjne niektórych pierwiastków klasycznego świata. Włosi przez łatwość w rozumieniu łaciny i przez cześć dla starożytności. która była ich własnem wspomnieniem, stanęli na czele odrodzenia i rozwoju klasycyzmu. Podajemy dalsze główne punkta treści tomu I.: duch XIV wieku, Rzym jako miasto ruin, rozpowszechnienie starożytnych autorów, biblioteki. druki, nauki greckie i orientalne, humanizm XIV wieku. wychowanie, stanowisko humanistów na uniwersytetach. mecenasi humanizmu, styl epistolarny, mowy i kazania łacińskie, łaciński traktat i dziejopisarstwo, ogólne zlatinizowanie oświaty, poezya nowo-łacińska. skargi na humanistów i upadek ich w wieku XVI. Przyswojenie dzieła Burckhardta naszej literaturze jest całkiem na czasie w obec ogólnego popędu do zapoznawania się z epoką odrodzenia, a zwłaszcza wzrastającej pracy nad odtworzeniem dziejów humanizmu polskiego. Szkoda. że tłomaczenie jest nieco za ciężkie.

K. B.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** Z obrad nad t. zw. projektem przewrotowym w parlamencie niemieckim donoszą o coraz ciekawszych wnioskach stronnictw zachowawczych. Do paragrafu 130 projektu podał dep. Rintelen następujący dodatek: Kto publicznie albo w obec kilku osób za pomocą druku, pisma lub ryciny zaczepia istnienie Boga, nieśmiertelność ludzkiej duszy, świętość religii i moralny charakter małżeństwa, podlega karze więziennej do 2 lat lub grzywnie do 600 marek. Konserwatyści zaś podali według „Freis. Ztg.“ wniosek, aby zezwolić na lżenie żydostwa (!!), a poddać karze osoby zaczepiające chrześciaństwo, świętość przysięgi, monarchii, małżeństwa, rodziny i nietykalność własności w celach podkopania porządku społecznego. — Cech szewski w Koźminie urządził obchód uroczysty celem uczczenia pamięci Jana Kilińskiego. — Z pomocą Koła polskiego wnieśli duńscy posłowie sejmowi wniosek, domagający się zaprowodzenia nauki języka duńskiego w szkołach elementarnych w północnym Szlezwiku i dalszy wniosek, żądający zmiany ordynacyi gminnej dla Szlezwiku i Holsztynu.

Zjazdy i kongresy. W dniu 23. lutego rozpoczął się niemiecki kongres handlowy w Berlinie. Na kongresie tym przyjęto następujące rezolucye:

1) Kongres handlowy podtrzymuje swoją uchwałę z roku 1886. według której niemieckiej waluty złota znosić nie należy: zniesienie jej uważałby wydział za fundamentalne podkopanie całego życia gospodarczego Niemiec.

2) Kongres handlowy uważa istniejący dobrowolny związek kupiecki za jedynie słuszną formę reprezentacyi centralnej, nie zgadza się na nadanie tej instytucyi charakteru urzędowego, ale uważa za potrzebne, aby rząd przed ustanawianiem praw dotyczących handlu i przemysłu przedkładał projekta do rozpatrzenia i wydania własnej opinii zarządom izb handlowych.

— **Teatr i muzyka.** W czwartek odegrano na scenie poznańskiej po raz pierwszy jednoaktowy obrazek dramatyczny miejscowego aktora i literata p. Wincentego Rapackiego (syna) p. t. „Plama.“ Treść utworu swojego zaczerpnął autor z życia artystów warszawskich. Tendencya „Plamy“ zwraca się przeciw obniżaniu sztuki do poziomu zyskownego rzemiosła. Utwór przeładowany nieco balastem rezonerskim zaleca się zręcznym układem, pięknym wierszem i plastyką kilku typów, a zalety te wystawiają korzystne świadectwo talentowi młodego pisarza. którego publiczność po zapadnięciu kurtyny wywołała na scenę. Postacie kobiece wprowadzone do sztuki rażą nieco brakiem organicznego spojenia z zasadniczą treścią utworu, ale jedna z nich, typ praktycznej, ograniczonej i rezolutnej niewiasty uderza kolorytem żywem i wyrazistością konturów. Przekonani jesteśmy, że utwór p. Rapackiego zyska sobie prawa obywatelstwa na wszystkich scenach polskich. — „Bukiet dramatyczny“ wystawiony w ubiegły czwartek na benefis artysty naszego p. Jakubowskiego, zgromadził w teatrze nader liczną publiczność, która bawiło się dobrze nieomal do północy (!). Pomijając przesadną obfitość programu, zapisujemy z uznaniem poprawną grę artystów poznańskich, a przedewszystkiem nazwiska pp. Trapszy, Jakubowskiego, Królikowskiego, Skirmunta, Prochaski i Knapczyńskiego, oraz pani Adolfiny i Heleny Zimajer, Wróblewskiej i Trapszowej. Tylko duety kobiece w „Czulej strunie“ kłóciły się z orkiestrą i z sobą bezustannie. — Pani Adolfina Zimajer urządza niebawem wieczorek humorystyczny, złożony z wyjątków najrozmaitszych operetek. Zachęcać publiczności do udziału w koncercie nie potrzebujemy, bo nazwisko sympatycznej artystki stanowi dostateczną zachętę. — Ulubiony i tylokrotnie odznaczony nasz warszawski kompozytor Adam Münchheimer przygotował do druku trzy nowe utwory: dwie pieśni do słów Alfa: „Sen“ i „Sierota“, oraz mazurek na skrzypce. — Teatr krakowski przedstawi we środę popielcową po raz pierwszy i powtórzy w dni następne wspaniały poemat dramatyczny Gerharda Hauptmanna. autora „Tkaczy“, słynne misteryum p. t. „Hanusia“ (Hanneles Himmelfahrt). Dramat ten który na scenie wiedeńskiego Burgteatru. jak również w Niemczech, Francyi i Anglii, Włoszech i Skandynawii wielkie wywarł wrażenie. odegrany będzie w Krakowie w przekładzie dokonanym dla sceny krakowskiej przez Maryę Konopnicką. — „Lysistrata“, komedya Arystofanesa w przeróbce Stanisława Koźmiana. która w Krakowie graną była kilka razy, a w prasie wywołała ostrą polemikę literacką, zaczęła się drukować w dodatku satyrycznego tygodnika „Zagloba“. wychodzącego we Lwowie. — W jednym z ostatnich numerów gazety „L'etoile Belge“ znajdujemy wzmiankę, że pan Munie wysłał artystom teatru Moliera w Brukseli dramat w 4 aktach p. t. „La comtesse Wanda“. napisany przez pannę Mery Komar. Dramat jest osnuty na tle polskich stosunków. Akcya podobno bardzo ożywiona. Czytanie sprawiło wielkie wrażenie. Pierwsze przedstawienie ma się odbyć w d. 16 marca rb., przy udziale pierwszorzędnych sił artystycznych. — Na letni sezon przygotowuje teatr w Saskim ogrodzie w Warszawie „Córkę regimentu“ z p. Czosnowską w roli tytułowej. — P. Lüdowa wystąpiła cztery razy gościnnie w Radomiu. — Dramat Władysława Rabskiego „Zwyciężony“ tłomaczy na język czeski znany czeski literat Arnos Schvab Polabski.

Zmarli:

Lubomir Nenadowicz. serbski poeta, zmarł w Valjewo w początkach lutego.

Francesco Podesti. nestor malarzy włoskich, zm. w Rzymie w wieku lat 94.

Wilhelm I. Martens, malarz rodzajowy, zm. pod Berlinem w początkach lutego.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. W. Ja. w Lipsku. Zamieściliśmy. Prosimy o częstsze wiadomości.

W. L. Jeden z nadesłanych utworów zamieszczamy dzisiaj. Z reszty korzystać nie możemy. Może Szan. Pan zechce nam dostarczać feljetonowych pogadanek w rodzaju tych, które swojego czasu „Przedświt“ publikował.

Z. B. B. we Wiedniu Z łaskawej propozycyi skorzystamy przy okazyi.

A..na. Pod wzplędem naukowo-literackim lepiej jest redagowaną „Prawda“, pod względem informacyjnym natomiast „Przegląd tygodniowy“. Nowa redakcya „Niwy“ nie spełniła nadziei w niej pokładanej. Zapatrywania Pani w sprawie „literackiej zazdrości“ mieszczą w sobie nie mało prawdy. Radzimy przeczytać odnośne miejsce w „Bez Dogmatu“ Sienkiewicza.

Kłos. Poruszamy w dzisiejszym feljetonie. Z łaskawie nadesłanych aforyzmów skorzystamy przy sposobności.

Marya K. Niech Pani raczy się udać do którejkolwiek z księgarni poznańskich. My katalogu „biblioteki teatrów amatorskich“ nie mamy pod ręką, a na pamięć tytułów i ceny cytować nie możemy. O ile sobie przypominamy to „Posag w kominie“ jest sztuczką „ze śpiewami“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 10. Poznań, Niedziela 10go Marca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

WAŻNE WYZNANIE.

II.

(*Dokończenie.*)

Nasza wolnomyślność w rzeczach religijnych nie była owocem ani rozumowań teologicznych, ani doktryny politycznej. Z pewnością wyszli założyciele „Dziennika Poznańskiego" i grono obywateli, grupujących się około ostatniego, po części ze szkoły francuzkich „*libre penseur'ów*" zeszłego stulecia, po części ze szkoły heglowskiej, ale ci tworzyli bardzo małą cząstkę naszego społeczeństwa. Nasz antyklerykalizm szlachecki, (najniesłuszniej uważany za liberalizm) ma swe źródło w drażliwościach sąsiedzkich. Spór pomiędzy patronem a proboszczem, pomiędzy dworem a plebanią o wpływy lokalne wyniesiony został z czasem w braku ważniejszych zagadnień politycznych na wyżyny jakiejś kwestyi spornej między kościołem a społeczeństwem świeckiem. „Dziennik" patrzał na ten spór (za rządów ks. arcybiskupa Ledóchowskiego) ze stanowiska zasadniczego, ale ogół zwolenników dziennikowych pojmował go w duchu tradycyi staroszlacheckich.

Taki „parafialny antyklerykalizm" naszego obywatelstwa wiejskiego musiał okazać swą gotowość do zgody, gdy na bruku poznańskim rozległ się okrzyk: Precz z szlachtą, precz z księżmi! Podanie sobie ręki nie potrzebowało nastąpić kosztem próżności i ambicyi naszych poznańskich liberałów! Ks. Ledóchowski, arystokrata na wskroś, trzymał się zdala od liberalizującej szlachty; dzisiejszy arcybiskup, szlachcic i Polak, ma serce i dom swój otwarty dla każdego ziomka bez względu na tó, do jakiego obozu się zalicza. Jakby na rozjemcę stworzony, ułatwił on przez urok swej osobistości zgodę między przeciwnikami.

W stronnictwie, które się utworzyło skutkiem owej zgody, w stronnictwie t. zw. „ładu i porządku", reprezentant dawnych „liberałów" „Dzien. Pozn." ma wpływ poważny. Odzyskanie utraconej pozycyi to cały zysk; *ale gdzie zysk dla liberalizmu, chociaż tylko umiarkowanego?* Czy przyszłość ma to dopiero pokazać?

Tymczasem zanotować warto, że „Dziennik" w krótkiej odpowiedzi, danej „Kuryerowi", przyznał się do tego liberalizmu! Czy to poruszenie liberalnego sumienia, czy też znak, że w fuzyi kuryerowo-dziennikowej coś się psuć zaczyna? Kto zna przeszłość „Dziennika" przypuści jedno i drugie. Tłomacząc to, co odpowiedział „Kuryerowi" półgębkiem „Dziennik Pozn.", na język zrozumiały, sądzimy, że sens będzie mniejwięcej taki: „Wstąpiłem, jako cichy wspólnik do spółki „Ład i porządek", z kapitałem znanych wam zasad liberalnych. Jednakże jestem gotów wystąpić z spółki z nietkniętym kapitałem tych zasad, gdyby się nadarzyła spółka korzystniejsza".

Czy ten kapitał będzie nietkniętym po rozwiązaniu spółki, tej kwestyi rozbierać nie możemy z tej prostej przyczyny, że wysokości sumy nie znamy. Liberalizm Dziennikowy posiada proteuszową naturę: trudno go we właściwej postaci uchwycić. Opiera on się, jakeśmy już powiedzieli, *mutatis mutandis* na tendencyach czteroletniego sejmu. To niby było jego punktem wyjścia. Tymczasem ten punkt zatarł się już w pamięci naszych pokoleń — i starty został pod kołem rydwanu historyi. Przekazany nam jako scheda umierającej Polski, program ten spełniony został już bardzo dawno bez przyczynienia się z naszej strony. Żyjemy teraz pod panowaniem *powszechnego głosowania*, (o czem z pewnością ani Kołłątaj nie marzył), a to zmienia rzecz zupełnie. Liberałowie nasi powinni wiedzieć, że powszechne głosowanie, tj. uznanie równości *obywatelskiej* nie tylko powinno nam służyć za punkt wyjścia w agitacyi przedwyborczej, ale przedewszystkiem powinno być dla nas *stałą* podstawą operacyjną w naszych walkach, podejmowanych w obronie narodowości. O to przecież nam wszystkim najbardziej chodzi!

Nasze społeczeństwo demokratyzuje się: stronnictwo, które nie bierze tego faktu w rachubę, będzie tylko koteryą, nigdy stronnictwem politycznem.

Wszczepieni w organizm polityczny, nam obcy, odczuwamy wszelkie prądy duchowe i wstrząśnienia tego organizmu; tysiącami dróg i kanałków wsiąkają w nasze społeczeństwo nowe zupełnie idee. Bezstronny obserwator widzi, jak na dłoni, że ten odłam narodu naszego, który się dostał pod panowanie niemieckie, czerpie zasoby duchowe i moralne z dwóch źródeł, z tradycyi polskich i z kultury niemieckiej, rodzonej siostry kultury zachodnio-europejskiej. Zasypać tego ostatniego źródła, choćby złotym piaskiem haseł patryotycznych, nie można; byłaby to robota Syzyfa. Idee, któreby śmy chcieli proskrybować, jako obce tradycyom polskim, zagnieździły się już na dobre w mózgach naszych, a przedewszystkiem pod twardą czaszką ludu naszego. Objawiać się u nas zaczynają gwałtownie, z łoskotem, najczęściej brutalnie, jakeśmy mieli tego przykład na kilku zebraniach przedwyborczych w ostatnich latach, objawiają się nieraz w karykaturze, — a to z tego powodu, że obrona tych idei nie spoczywa jeszcze w ręku inteligencyi. Ale one żyją, i do nich przyszłość należy. Nie jest to bunt, ale prosty objaw ewolucyi dziejowej, przeciw której walka jest niemożliwa.

Nasz „liberalizm dziennikowy" dostrzega w tym buncie siły odśrodkowe. Z pewnością są one względem ogniska ludzi „ładu i porządku" odśrodkowemi; ależ to ognisko jest tymczasem tylko ogniskiem koteryi. Po za niem tworzy się zwolna ognisko inne, około którego skupiają się owe „odśrodkowe siły", także pod hasłem obrony narodowej z programem wyraźnie demokratycznym; czy i wtedy stronnictwo takie uchodzić będzie za „warchołów", anarchistów *et hoc genus omne?* Czy „Dziennik", któremu patryotyzmu żaden przeciwnik nie odmówi, znosić będzie podobne sąsiedztwo? Wszakże „getrennt marschiren und vereint schlagen" jest ostatniem słowem strategii; czyżby nie można tego zastósować do naszej polityki?



Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

O głośnych wystąpieniach *O. Andrzeja* w obec Bochumskich Polaków, donosi korespon-

dent *Gazety Toruńskiej* nr. 54 następujące szczegóły:

„Dziś napiszę cokolwiek o zgromadzeniu prezesów; które się odbyło w niedzielę dn. 24go bm. w Bochum. My prezesi zostaliśmy na to zwołani, aby radzić o urządzeniu nabożeństw polskich. Zaraz na początku wyznam jednak otwarcie, że ja z tego zebrania nie jestem wcale zadowolony. Kiedy Wiel. ks. Szotowski lub Wiel. ks. dr. Liss zwołali zebranie prezesów, to chętnie tam spieszyliśmy, bo obrady toczyły się zawsze w wielkim porządku, a O. A. zaraz na pierwszem zebraniu obchodził się z nami tak jak z dziećmi. Skoro jaki mówca głos zabrał, to O. A. zawsze przerywał i nikomu nie pozwolił dokończyć, a jeżeli kto odważył się powiedzieć. co się O. A. nie podobało, to on zaraz zawołał: Cicho bądź, ty krzykaczu! Posunął się O. A. nawet tak daleko, że powiedział, iż skoro go kto nie będzie słuchał, to pójdzie do gospodarza sali, by zawołał policyanta i każe potem każdego, kto się po woli jego nie zastosuje wyprowadzić ze sali. Nas to bardzo bolało, że O. A. tak do nas przemawia. Na zebranie przybył też znany nam bardzo dobrze p. Biel. i zaczął pisać sprawozdanie, ale i to O. A. się nie podobało, bo wyraził życzenie, aby p. B. przestał pisać, lub opuścił salę. Zastanowiło nas to bardzo, bo znamy pana tego jako bardzo spokojnego człowieka i dla tego z oburzeniem powiedzieliśmy O. A. że skoro p. B. wyjdzie, to my też wyjdziemy. O. A. mówił tedy, iż on nie chce, aby p. B. opuścił salę, tylko pragnie, aby dalej nie notował, a to, co miał napisane, spalił. P. B. zgodził się tylko na to, iż przestanie dalej pisać, mówiąc, że napisze to sobie w pamięci, ale to co dotąd napisał schowa i wcale nie myśli tego do pieca rzucać. Zebranie było publiczne, więc nie pojmuję, dla czego O. A. takie niezwykłe stawiał żądania. Przecież powinno mu zależeć na tem, aby sprawozdania o zebraniu były dokładne."

—

W sprawie tej donosi jeszcze *Gazeta Toruńska* następujące szczegóły:

„Z innego sprawozdania dowiadujemy się, że na zebraniu, nie brakło i wesołych epizodów. Oto O. Andrzej przedstawił zgromadzeniu i oddał pod głosowanie rezolucyą wzywającą pana Jana Brejskiego, (redaktora „Gaz. Tor.") aby się wyuczył na księdza i przyszedł do Westfalii, jako duszpasterz Polaków. (Pewnieby go odprawiono z kwitkiem, jak ks. Bolta i ks. Leicherta). Na 70 mniejwięcej obecnych na sali, 26 uznało ten pomysł za bardzo dobry. (Dziękujemy im za zaufanie. Red.) Inni kiwali głowami, wiedząc że p. J. Brejski ma żonę. O. Andrzej wytłómaczył następnie na posiedzeniu Towarzystwa św. Barbary, że p. J. Br. może zostać księdzem, jeżeli jego żona pójdzie do klasztoru.

Ubolewamy mocno, że genialny pomysł O. Andrzeja urzeczywistnić się nie da, bo żona p. J. Br. ani rusz do klasztoru iść nie chce. Niechże tedy O. Andrzej popiera gorliwie „Swiętojózefacie", które tak lekceważy, a Polacy westfalscy już za kilka lat doczekają się duszpasterzy, którzy wyszedłszy z pośród nich, łatwiej z nimi dojdą do ładu, niż O. Andrzej.

—

Z Koronowa piszą do *Gazety Gdańskiej* w Nr. 27.

„Pisma donoszą o okropnej zbrodni, jakiej się dopuszczono przeciw niemczyźnie. Oto słuchajcie narody. Dawniej Klahrheim nazywał się po polsku Kotomierzem, ale że dziedzic tej wsi nazywa się „Klahr", zatem na jego cześć nazwano staropolską osadę niemieckiem mianem. Jakiś pismak odkrył na żwirowce pomiędzy Koronowem a Katomierzem kamień milowy, na którym znajduje się napis: „Nach Kotomierz" (a nie „Klahrheim".) Bismarku ratuj, gdyż zanosi się na kosynierkę, bo na milowym kamieniu pozostała polska nazwa wsi przechrzconej. Gdyby ów pismak miał tę władzę, sprowadziłby batalion wojska, aby ów napis usunąć. Niezawodnie Spółka KHT. zajmie się tą sprawą, a wtedy będą mogli pismacy i szowiniści spać spokojnie.

Od nazwiska landrata przezwano Chodzież „Colmarem". W Szamotułach był landrat Knobloch, co po polsku znaczy „czosnek". Jakiś gorliwy germanizator, nie zważając na to, że Szamotuły mają już niemiecką nazwę „Samter", chciał nadać więcej praniemiecka (urdeutsch) nazwę „Knoblochstadt", ale żydzi zaprotestowali głośno, gdyż uważali to za szykanę żydowskiego rodu, a tak dzięki żydom Szamotuły zowią się „Samter" a nie „Knoblochem" lub podobnie."

—

„Goniec wielkopolski" rozwiją niespodziewanie w nr. 53 takie poglądy:

„Jesteśmy przeciwni na razie wszelkim związkom antiniemieckim lub antiżydowskim — tem więcej zachęcamy gorliwie cichą pracę i walkę o palmę na polu ekonomicznym.

Gdyby miał jednak nadejść czas, gdzie przed ostateczną zagładą ratować nas będzie mogła tylko agitacya szalona, lub pomoc obca, to wtenczas, jak zwykle, pierwsi staniemy do walki.

Pamiętajmy o tem, że jedna krótka wojna — może zmienić zupełnie mapę Europy i że Słowiańszczyzna zjednoczona nie potrzebuje lękać się Germanów. My jej przedmurzem; bądźmy przeświadczeni o tem, i wierni naszemu zadaniu!

—

„Orędownik" cytuje w nr. 52 wywody „Kuryera Pozn." w sprawie ostatniej antipolskiej mowy ministra Bossego i takie poświęca uwagi rozczarowaniu, cechującemu artykuł klerykalnolojalnego organu:

Oto habemus reum confitentem — wreszcie po czterech latach rozpusty politycznej przyznaje partya dworska w „Kuryerze":

1) że została w pole wyprowadzona;

2) że ją pan minister Bosse wyleczył z wszelkich złudzeń;

3) wreszcie, że z nauką języka polskiego jesteśmy tak daleko, jakeśmy byli po 1887 r.

Jestto formalne zwinięcie interesu politycznego. Od wszelkich uwag nad tą deklaracyą „Kuryera" wstrzymujemy się, bo one dla naszych czytelników są zbyteczne.

Niech partya dworska razem z „Kuryerem" spoczywa w pokoju!

„Orędownik" zamieszcza w nr. 49 replikę na wywody ministra Bossego w sprawie „prasy ludowej i między innemi takie wypowiada opinie:

„Polska prasa ludowa jest na wskroś narodową i obronę interesów narodowych uważa za swe pierwsze zadanie. W Berlinie nie należałoby jej robić z tego zarzutów, ani jej tego za grzech poczytywać... Na to środka nie ma, chyba, żeby dla prasy polskiej ludowej zawieszono konstytucyę. Obostrzenia w projektowanej ustawie przeciw przewrotowi, o które publicznie partya dworska wołała w „Kuryerze", także do celu nie doprowadzą. Zawieszenie konstytucyi, częściowe lub zupełne, byłoby krokiem niesprawiedliwym i niepolitycznym nawet ze stanowiska rządu pruskiego. P r a s a l u d o w a p o l s k a s ł u ż y b o w i e m n i e t y l k o s w y m n a r o d o w y m i n t e r e s o m, a l e t a k ż e r z ą d o w i p r u s k i e m u, b o m u n a j l e p i e j u ł a t w i a i n f o r m a c y ę, c o d o r u c h u n a r o d o w e g o w l u d z i e p o l s k i m i k o n t r o l ę n a d t y m r u c h e m" (!!!)

Czy „Orędownik" wywieszający nieraz obok rozumnych zasad demokratycznych sztandar jaskrawego prusofilstwa, zdawał sobie sprawę z wrażenia, jakie ostatnie słowa powyżej cytowanego ustępu wywrzeć muszą na czytelnikach, — w to uwierzyć nam trudno. Zakrawa to bowiem na zapowiedź „denuncyacyi", którą „organ ludowy" wobec rządu pruskiego praktykować się podejmuje. Przypuszczamy raczej, że w polemicznym zapale rzucił „Orędownik" na papier słowa, które przy głębszej rozwadze uzna sam za monstrualne. Radzimy mu jednak szczerze, aby w przyszłości ostrożniejszych dobierał zwrotów i argumentów, bo na tle jego przesadnego lojalizmu i tej fałszywej „trzeźwości", którą nieraz popisywać się lubi, frazesy takie nabierają groźnych pozorów prawdopodobieństwa i namiętnym przeciwnikom stronnictwa ludowego za broń druzgocącą posłużyć mogą.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Radikalni Listy", organ czeskiej Omladyny krytykuje zachowanie się posłów młodoczeskich w sejmie czeskim i tak pisze:

„Ostatnia sesya sejmu czeskiego wykazała dowodnie, że w obozie młodoczeskim nie ma jedności, że stronnictwo to sprzeniewierza się dawnym zasadom, to też taktyka taka do celu żadnego nie wiedzie i w skutkach okazuje się szkodliwą. Zadanie stronnictwa pojmujemy z punktu widzenia dwojakiego. Spodziewaliśmy się po Młodoczechach, że wystąpią na całej linii w obronie idei prawa państwowego, a dalej, że będą energicznie występować przeciw osobie namiestnika.

Namiestnik jest sprawcą wszystkich nieszczęść, jakie na kraj nasz spadły. Trzeba, nam było przypomnieć nasze prawo państwowe choćby dla tego, aby ludowi krótko przed nowemi wyborami dowieść, że się o nie upominamy; byłoby to cennym środkiem agitacyjnym. Tego atoli nie wykonano. Jedynym wnioskiem, sięgającym głębiej, był wniosek dr. Vaszatego o ustanowienie najwyższej instancyi sądowej dla królestwa, oraz wniosek dr. Kramarza, dotyczący odpowiedzialności namiestnika wobec sejmu.

Wręcz fałszywą była taktyka posłów mło

WŁODZIMIERZ KOROLENKO.

DZIWNA.

SZKIC.

— Hej: jamszczyk, a daleko jeszcze do stacyi?

— Oj, jeszcze, panie, trudno zdążyć przed nawałnicą; hej, co za zadymka!

I rzeczywiście, nie zdążymy już chyba przed nawałnicą. Pod wieczór zimno coraz większe: śnieg skrzypi pod płozami, wiatr zimny wieje, a huragan wyje i huczy w ciemnym borze; drzewa przydrożne pochylają swe ramiona ku wąskiej leśnej drodze, kiwając niemi groźnie w potężniejącym zmroku wczesnego wieczoru.

Zimno i niewygodnie. Kibitka wąska, boki strzęsione, szable i rewolwery „opiekunów" latają na wszystkie strony, jak szalone.

Dzwonek jęczy długą i monotonną pieśnią w takt wyjącego wichru.

Na szczęście widać nareszcie jakieś światełko na samym skraju lasu.

„Opiekunowie" moi, brząkając całym arsenałem broni, strzepują śnieg w silnie ogrzanej i zakopconej izbie „stacyi". Biednie tu i niepociągająco. Gospodyni wnosi do świetlicy dymiące łuczywo.

— Nie macie czego do zjedzenia kobieto? pytam?

— Nic nie mamy...

— A ryby? Przecież rzeka blisko?

— Były, były, ale wydry wyniszczyły.

— A kartofle?

— Zmarzły.

Cóż robić? Gospodyni chleba dała, znalazł się ku podziwieniu samowar i to była nasza kolacya.

Ogrzaliśmy się herbatą, najedliśmy się chleba, byla i cebula, przyniesiona przez gospodynię. A huragan na dworze huczał, śniegiem drobnym w szyby sypał, chwilowo nawet światło łuczywa trzęsło się i chwiało.

Nie będziemy mogli jechać, nocujcie — mówię do „opiekunów".

— Cóż, nocujmy. Wam, panie, spieszyć poco? Co za okolica tutaj, a tam jeszcze gorzej, wierzaj pan na słowo.

Umilkło w izbie. Nawet gospodyni odłożyła swoję balię z bielizną i położyła się spać, zagasiwszy łuczywo. Ciemność i milczenie zapanowały, niepokojone uderzeniami fal napływającego wiatru.

Nie spałem. W głowie mojej, w takt burzy powstawały i ulatywały, goniąc się wzajemnie, ciężkie i przygnębiające myśli.

— Pan nie śpi jakoś — przemówił jeden z „opiekunów", „starszy", dosyć sympatyczny o przyjemnem i względnie inteligentnem nawet obliczu, człowiek roztropny, w zawodzie swoim znawca i dla tego nie pedant. W drodze nie uciekał się on do niepotrzebnych formalności i ograniczeń.

— Tak jest, nie śpię.

Chwila milczenia, lecz słyszę, że i sąsiad mój spać nie może — i w jego głowie zapewne błąkają się jakieś myślj. Drugi „opiekun" — młody, „podręczny", — śpi snem zdrowego, lecz mocno znużonego człowieka. Od czasu do czasu mruczy coś pod nosem.

— Dziwię się wam — usłyszałem znowu równy piersiowy głos podoficera — ludzie młodzi, szlachetni i wykształceni, a w taki sposób życie swoje przepędzacie?

— Jakto?

— Och, panie. Czy to my nie rozumiemy? Dosyć pojmujemy, by przypuścić, że jednakże innem życie wasze było i nie do tego z dzieciństwa przywykliście...

— Mówicie na wiatr — odrzekłem — rzecz nie w tem, do czegośmy się z dzieciństwa przyzwyczaili — był czas i odwyknąć...

— Czy panu tak wesoło? — pyta on tonem zwątpienia.

doczeskich wobec hr. Thuna. Namiestnik, jako reprezentant rządu, zajął wrogie stanowisko wobec stronnictwa, a posłowie młodoczescy zajęli stanowisko kompromisowe, zmieniające się „von Fall zu Fall“.

W dniu 31 stycznia przemawiał namiestnik przeciw wnioskowi dr. Kramarza, a Młodoczesi na to milczą. Dnia 8 lutego wypowiedział długą mowę po niemiecku, a i w tem mu nie przeszkodzono. Na różne interpelacye odpowiadał po niemiecku, a tylko przy rozprawie nad budżetem posłowie nasi chcieli go do milczenia zmusić.

Widocznem jest, jak się polityka młodoczeska raz na tę, raz na ową stronę przechyla. Młodoczesi potępiali namiestnika dla tego jedynie, że po niemiecku mówi, zapominając, że jest reprezentantem rządu, wrogiego naszemu społeczeństwu, że taki stan rzeczy sprzeciwia się pojęciom zasadniczym konstytucyi i sprawiedliwości. Obojętnem jest, czy namiestnik, zajmujący wrogie wobec narodu stanowisko, mówi po niemiecku, — nie chodzi nam bowiem o formę, ale o rzecz.

Stronnictwo młodoczeskie powinno wiedzieć, że o jakiemkolwiek ze rządem porozumieniu dziś mowy być nie może; że więc wyłączoną jest doniosłość polityki chwiejnej i ustępstw.

Stan wyjątkowy był często przedmiotem dyskusyi. Że strony młodoczeskiej zapominano, żeśmy oskarzycielami nie oskarżonymi, że stan wyjątkowy nie jest karą, lecz ciągiem dalszym systemu rządzącego. Gdyby Mlodoczesi byli rząd obwiniali zamiast uniewinniać się pokornie, byłby rząd przekonał się o bezcelowości obecnego stanu i zgodził się na zniesienie stanu oblężenia.

Sesya wyjaśniła też stosunek naszej szlachty do Młodoczechów. Myśmy już dawniej dowodzili, że stosunek ten może być tylko nieprzyjacielskim“.

* * *

„*Il Pensiero Slavo*“ pisze o stosunkach narodowościowych w Istryi.

„Około roku 600 po Chrystusie opanowali Chorwaci Istryą, wówczas wyludniona, podobną pustyni. Przez dwa wieki uprawiali spokojnie grunta, byli panami wyłącznymi kraju. Ich językiem nietylko lud mówił, ale i dwory książęce.

Po dwóch wiekach pracy, poświęconej dobrobytowi krajowemu, poczęły się tworzyć pomiędzy nami a Rzymianami wojny. Rzymianie oskarżyli równocześnie Chorwatów przed Karolem Wielkim, jako też ówczesnego gubernatora kraju. Karól Wielki przysłał do kraju komisarzy, którzy działając po myśli cesarza Franków, nieprzejednanego wroga Słowian, oddali pod opiekę Rzymian miasta, pozostawiając wsie Chorwatom. Mimo to powodzenie Rzymian nie było trwałem, ponieważ nie powiodło się im wyprzeć nas z kraju, a nawet opanować miejscowości północnych nad brzegiem morza.

Przez czas dłuższy podlegali Chorwaci istryańscy królom chorwackim; później dostali się pod panowanie różnych władzców. Wszyscy jednak przyznawali Chorwatom prawo rządzenia się własnemi ustawami, posługiwania się językiem chorwackim w urzędach i kościołach. W zgodzie z wolą dożów weneckich zezwolono na zakładanie klasztorów, w których zakonnicy mieli uczyć Chorwatów zasad wiary w ich języku rodzinnym, odprawiać msze w języku starosłowiańskim, lub też głagolickim. Dopiero około roku 1600 poczęło się prześladowanie języka chorwackiego przez biskupów włoskich. Wówczas to palono mszały starosłowiańskie, niszczono na kościołach napisy chorwackie i zaprowadzono księgi kościelne włoskie. Ucisk ten przeminął atoli i cesarz Franciszek nakazał drukować księgi mszalne chorwackie dla Istryi w chorwackim języku.

Na nowo podjęto przeciw Chorwatom wojnę w ostatnich dwóch dziesiątkach lat. Narodowość chorwacka na Istryi ma swe nieprzedawnione prawa. Walkę o te prawa wieść będzie nieustraszenie, wierząc w to, że broni sprawy słusznej. Na tym punkcie nie ustąpimy, choć zawsze jesteśmy gotowi do pożycia zgodnego z ludnością włoską.“

LITERATURA I SZTUKA.

August Strindberg
o malarzach francuzkich.

Strindberg bawi w Paryżu od kilku miesięcy i czynny bierze udział w życiu tutejszem. Z powodu wystawy i sprzedaży obrazów Pawła Gauguina*), impresyonisty, o bardzo wysoko rozwiniętej indywidualności; Strindberg napisał artykuł w formie listu do Gauguina, z którym pozostaje w przyjaźni; lecz którego zapatrywań na sztukę bynajmniej nie podziela.

„Chcesz, bym coś napisał o twoich obrazach; otóż wręcz ci tego odmawiam, bo ich nie rozumiem i nie lubię. Wolę napisać coś ogólniejszego o innych francuzkich malarzach, którzy też swego czasu uwielbienia mojego nie zyskali i niechaj te słów kilka będą pamiątką zimy 1894—95, razem spędzonej w Paryżu, w pobliżu Panteonu, a bliżej jeszcze cmentarza Montparnasse.

Po raz pierwszy przybyłem do Paryża w roku 1876. Miasto nacechowane jeszcze było smutkiem wspomnień przebytej przed kilku laty straszliwej wojny, lękało się przyszłości i coś nieokreślonego się w niem burzyło. W kółku artystów i literatów szwedzkich nic jeszcze nie wiedzieliśmy o Emilu Zoli, bo „l'Assommoir“ dopiero miała sie ukazać. Poszedłem zobaczyć Sarę Bernhardt w teatrze Komedyi francuzkiej, wiedziałem bowiem, iż ją uznano za godną następczynię Rachel a zaraz nazajutrz kilku młodych szwedzkich malarzy prawie gwałtem zaprowadziło mnie do Durand-Ruela, w którego wystawionej galeryi miałem zobaczyć coś zupełnie nowego, nieznanego dotychczas w malarstwie. Większość wystawionych obrazów była podpisaną przez Maneta i przez Moneta. Na nowość ich sztuki patrzałem spokojnie obojętnie; myśl miałem zajętą właściwym celem mego przyjazdu do Paryża (jako sekretarz Biblioteki sztokholmskiej wysłany zostałem do Paryża dla wyszukania w Bibliotece Sainte-Geneviève pewnej średniowiecznej książki do nabożeństwa pisanej po szwedzku). Nazajutrz, nie zdając sobie dobrze sprawy dlaczego, wróciłem do galeryi Durand-Ruela, odkryłem, że jest „jakieś coś“ w tem zadziwiającem sposobie malowania Maneta jak i Moneta. Patrząc na port wyobrażony na obrazie, widziałem ścisk i przepychanie się tłumu, jakkolwiek artysta nie namalował tego tłumu; widziałem przebiegający szybkim pędem pociąg kolei żelaznej wsród namalowanego normandzkiego krajobrazu; patrząc na obraz przedstawiający ulicę, widziałem ruch powozów i szybkie obroty kół. Wystawione portrety przedstawiały rysy kobiet brzydkich, które widocznie nie potrafiły spokojnie pozować i dlatego artysta mógł z nich stworzyć tylko nieudane szkice. Uderzony dziwacznością wszystkich tych obrazów, opisałem moje nad niemi spostrzeżenia i artykuł wysłałem do redakcyi jednego z dzienników w Sztokholmie. Mówiono mi, iż artykuł ten wywołał niemało u nas wrzawy, chociaż nie-

---

— Nie wesoło, co tu mówić... A wam wesoło?

Milczenie. Hawryłow (nazwijmy tak mego towarzysza), zdaje się rozmyślać nad czemś...

— Nie panie, powiem panu... Słowem zaręczam, czasami tak bywa, że po prostu zdaje się, iż człowiek na świat by nie spojrzał... dla czego to, nie wiem,ale czasami tak przystąpi, że tylko nożem się przebić!..

— Czy służba taka ciężka?

— Służba, służbą... Ma się rozumieć, nie spacer to, a i władza, trzeba przyznać, wymagająca, a jednakże nie z tego to.

— Więc z czegoż?

Kto to wie?

Znowu milczenie.

— Jeszcze teraz, to zniecZulałem, przywykłem. No, i władza nie zapomina, podoficerem zrobili, kar żadnych nigdy nie było, a i do domu prędko — do wysłużenia...

— Więc cóż?

— Ot, powiem panu, co za zdarzenie miałem... Wstąpiłem do służby w 1874-tym roku wprost do oddziału żandarmskiego. Służyłem dobrze i mogę powiedzieć z oddaniem się. Naznaczano mnie na posterunki, na zebrania publiczne, do teatru itp. Ponieważ i czytać dobrze umiałem, władza o mnie pamiętała. Nasz major, pochodzący z tej samej okolicy co i ja, widząc moją pilność, przywołał mnie pewnego razu do siebie i powiedział:

— Słuchaj, Hawryłow, chcę cię przedstawić na podoficera; jeździłeś ty kiedy z politycznymi?

— Nie jeździłem, wasze błahorodie — odpowiadam.

— Naznaczę cię na przyszły raz — powiada — na „podręcznego“, przypatrzysz się — rzecz nie trudna.

— Według rozkazu, wasze błahorodie, — odpowiadam — postaram się!

A z politycznymi nigdy nie jeździłem. Chociaż rzecz to nie trudna, a jednakże i o instrukcyach pamiętać należy i roztropność potrzebna. No, dobrze. W tydzień później wołą mnie służący do naczelnika razem z jednym podoficerem. Przyszliśmy.

— Pojedziecie z politycznymi — powiada — a to jest — mowi podoficerowi — twój „podręczny“. Jeszcze nigdy nie jeździł. Pamiętajcie być uważnymi i spiszcie się dzielnie; z panną pojedziecie. Oto macie instrukcyę; pieniądze dostaniecie jutro — z Bogiem!

Podoficer Iwanow był moim „starszym“, tak, jak ja teraz dla tego drugiego żandarma. „Starszy“ dostaje instrukcyę, pieniądze i papiery, on się w razie potrzeby podpisuje i rachunki prowadzi, a szeregowca dodają mu do pomoey: czy gdzie posłać, rzeczy przypilnować, lub coś podobnego... No, dobrze... Rano, ledwo świtać zaczęło, wychodzimy od naczelnika — patrzę, a mój Iwanow zdążył się upić. A był on, prawdę mówiąc, wcale nie odpowiednim — teraz już zdegradowany. Wobec władzy zachowywał się, jak na podoficera przystało, a nawet drugich pilnował — wiadomo, lizał się. A jak tylko nikt z oficerów na niego nie patrzał, zaraz szedł się upijać.

Otóż z nim poszedłem do zamku i jak należy papier wręczyliśmy, stoimy i czekamy. Ciekawy byłem, co to za pannę wieźć nam przykazano, a według marszruty droga była daleka. Jechaliśmy tą samą, co i teraz, tylko że była ona naznaczoną do miasta, a nie do osady, jak pan. Tak mnie ciekawość i brała, że to pierwszy raz — czekam więc. Staliśmy tak z godzinę, póki nie upakowali jej rzeczy, a było ich nie wiele — spodnica, to i owo, jak pan zresztą wie u kobiety. Książki też miała, więcej nic; myślę sobie: z niebogatych rodziców pewnie. Wyprowadzili ją nareszcie; patrzę, młodziutkie to, dzieckiem prawie się zdawała. Włosy blond, w warkocz splecione, na policzkach gorzał rumieniec, lecz potem w drodze znikł i bledziutka była... Tak mi się jej żal zrobiło, tak żal, że doprawdy...

Zaczęła się ubierać, włożyła palto i kalosze. Mieliśmy nakaz zrewidować rzeczy; takie prawo jest: według instrukcyi jesteśmy obowiązani rzeczy rewidować.

— Pieniądze pani przy sobie posiada? — pytamy.

dobrze rozumiano odczute i doznane przezemnie wrażenia.

W roku 1883 przybyłem powtórnie do Paryża. Manet już nie żył, lecz kierunek przez niego stworzony miał licznych spadkobierców, walczących o hegemonię z Bastien Lepagem na czele.

Po raz trzeci przybyłem do Paryża w roku 1885 i trafiłem właśnie na zbiorową wystawę obrazów Maneta, który był już uznanym za mistrza i zajmował stanowisko odrębne: miał swoją klasyfikacyę w dziejach francuzkiego malarstwa: lecz wkrótce potem otworzono wystawę obrazów z ostatnich lat trzech. Ujawniła się tam najzupełniejsza anarchia. Wielka różnorodność stylu, kolorytu, tematu: historya, mitologia, naturalizm — mieszały się, sąsiadując pospołu. Nie chciano słuchać o żadnych szkołach, ani tendencyach. Niezależność artystycznych manifestacyj, swoboda malowania, jak się chce, były hasłami dnia. Taine wypowiedział, iż „ładne“ nie miało nic wspólnego z „pięknem“ a Zola napisał, iż sztuka jest odrobiną natury, widzianej i odtworzonej zależnie od temperamentu artysty.

Pomimo zwycięzkiego w owe czasy naturalizmu, był innego kierunku artysta, którego nazwisko wszyscy wymawiali z uwielbieniem. Artystą tym był Puvis de Chavannes. Był on sam jeden, oddzielne zajmując stanowisko, stanowiąc jakby antytezę tamtych. Malował on z przejęciem, wiarą w swoje ideały. Współcześni upatrywali w jego obrazach aluzye, których w płótnach swoich nie umieszczał. Słowo „symbolizm“, jeszcze wtedy nie weszło w użycie, a jest-to określenie dość niefortunne, które nie odnawia rzeczy starej, to jest „alegoryi“.

Po spędzonym wczoraj wieczorze w twojej pracowni, mój kochany Gauguin, myśl moja pobiegła ku sztuce Puvis de Chavannesa, chociaż tak wielce różnymi jesteście. Jedyną łączność pomiędzy wami stanowi nowość świata, jaką stworzycie, lecz każdy na swój sposób. Obrazy twoje, które wczoraj widziałem zebrane, przeraziły mnie jaskrawością i olśniewającemi potokami słońca. Ilość ich i dziwaczność prześladowała mnie noc całą, przyprawiając o sen niespokojny. Namalowałeś na nich drzewa nieznane przez żadnego botanika, zwierzęta, o których Cuvier nie miał wyobrażenia, ludzi stworzonych przez własną twoją fantazyę, morze, płonące jak wulkan, niebo, w którem nie chciałbym przebywać. I w gorączkowym śnie moim mówiłem do ciebie:

— Stworzyłeś pan nową ziemię i nowe niebo. Lecz stanowczo nie spodobają mi się wymyślone przez pana światy. Rażą mnie swoją słonecznością, przekładam nad nie rzeczy mniej jaskrawe. Ewa, zamieszkująca ów raj, nie jest moim ideałem, gdyż zapewniam, że i ja mam swój ideał niewiasty, może nawet nie jeden, lecz dwa.

Dzisiejszego ranka poszedłem do Muzeum luksemburskiego, by spojrzeć na obraz Puvis de Chavannesa, bo mimowoli wciąż o nim myślałem.

Stanąłem przed „Biednym rybakiem“ i patrzyłem na niego z głęboką sympatyą. Jak on pilnie wypatruje ryby, jak chce ją złowić, by zdobyczą tą pozyskać zadowolenie i wdzięczność swojej wiernej żony, zbierającej kwiaty na łące i nakarmić biedne swoje dziecko! Obraz jest piękny! Lecz wtem spoglądam na cierniową koronę, opasującą skronie rybaka i tracę wątek — już nic nie odnajduję. Nienawidzę koron cierniowych! Nie chcę Boga, znoszącego i poddającego się cierpieniu. Nad takiego Boga wolę innego chociażby Witsliputsli, który, wygrzewając się na słońcu, pożera serca stworzonych przez siebie ludzi. Nie, Gauguin nie został stworzony z żebra Puvis de Chavannesa, ani z żebra Maneta, ani też z żebra Bastien Lepage'a! Kimże więc jest Gauguin?... Gauguin jest człowiekiem niesfornego umysłu, dzikim, nienawidzącym cywilizacyi, wśród której mu jest ciasno. Woli on utrzymywać, iż niebo jest czerwone, byle nie mówić narówni z innymi, iż jest niebieskie.

J....z.

---

*) Gauguin, malarz impresyonista, wystawił obrazy malowane w czasie kilkoletniego swego pobytu na wyspie Taiti—obecnie, zebrawszy ze sprzedaży przeszło 20,000 fr., znów tam wyjeżdża.

Przyjaźń dwóch poetów.

(Wl. Spasowicz. Schiller i Göthe w pamiętnem dziesięcioleciu ich przyjaźni. 1895.)

Rozmaite wspomnienia budzi każda data w rozmaitych umysłach. P. Spasowicz przypomniał sobie w roku ubiegłym o tem, że jest to stuletnia rocznica zawiązania przyjaźni między dwoma geniuszami stojącymi na szczycie oświaty XVIIIstulecia w Niemczech, a po części nawet całej Europy. Dzięki temu przypomnieniu powstał szereg artykułów w „Kraju,“ które obecnie tworzą książkę oddzielną.

Książka ta jest tembardziej pożądaną, że bardzo mało pisano u nas o dwóch największych poetach niemieckich, zwłaszcza zaś o Szyllerze: nazbyt pobieżna jednak i okolicznościowa — uwzględnia bowiem tylko dziesięcioletni okres od 1794—1805 z życia obu pisarzy, budzi ona raczej chęć przeczytania całości bardziej wyczerpującej niż zadawalnia tem co daje: ale to już wina obranego tematu. Bądź co bądź, książkę p. Spasowicza przeczyta niejeden z przyjemnością i korzyścią.

Autor zaczyna od opisania domów Göthego i Szyllera, które wdzięczna pamięć narodu przechowywa dotychczas w tym stanie, jak były za życia ich właścicieli ze wszystkiemi sprzętami i drobnostkami otoczenia.

Jest to niezawodnie najlepszym sposobem wprowadzenia czytelnika do rzeczy. — W mieszkaniu u Göthego „ogrom rzeczy pięknych, gustownych i interesujących a bardzo mało odpowiednich wymaganiom dzisiejszego komfortu“ — to znaczy że Göthe był artystą i uczonym, ale wcale nie był pseudo-estetykiem.

„Uwielbiając Szekspira, Göthe go nie naśladował; był największym mistrzem w sztuce samoograniczania się dla tem większej twórczości“ (str. 7).

Toż samo u Szyllera: „prosty człowiek nie poprzestałby na niziutkiem, wązkiem łóżku, na którem, kiedy skonał, na jego twarzy zastygło uczucie niewymownej goryczy i głębokiego smutku, z domieszką jakiejś bardzo podniosłej wzgardy“ (str. 10).

Dalej odtwarza nam autor według listów i wspomnień, pierwsze próby zbliżenia się obu geniuszów, z których już jeden był prawie na szczycie sławy — drugi zaledwie wielce obiecującą wschodzącą gwiazdą. Próby te utrudniła początkowo Szyllerowska krytyka Egmonta. „Jakkolwiek łagodna, zadrasnęła ona ambicyą Göthego, a rewolucyjny charakter pierwszych dramatów Szyllera uprzedził do niego spokojnego i zrównoważonego już wówczas dworaka. — Dopiero w kilka lat później, zakładając pismo "Die Horen," zaprosił Szyller Göthego do spółpracownictwa. Podało to powód do zbliżenia, które jednak o mało nie skończyło się gwałtownem zerwaniem przy pierwszem spotkaniu osobistem w Jenie. — Spotkali się obaj na posiedzeniu Towarzystwa przyrodniczego. — Göthe zajęty gawędą o prz dmiocie odczytu, wstąpił do mieszkania Szyllera i tu niebawem zaczął mu rozwijać swoję teoryę metamorfozy roślin, kreśląc plan idealnej rośliny. Wykrzyknik Szyllera — „ależ to nie fakt, tylko idea,“ o mało, że nie zerwał nawięzujących się stosunków. Ten zarzut obudził dawne ideowe roz-

---

Okazało się, że miała rubel kopiejek dwadzieścia, które wziął na przechowanie „starszy“.

— Muszę panią zrewidować — mówi do niej. Lecz ona uniosła się. Oczy się jej zaiskrzyły, rumieniec silniej na twarz wystąpił. Wargi cienkie zagryzła. Spojrzała na nas takim wzrokiem, że niech mi pan wierzy, przystąpić do niej nie śmiałem. No, a „starszy“, wiadomo, podcięty, prosto do niej wali...

— Jestem obowiązany — mówi — taką mamy instrukcyę.

Lecz jak nie krzyknie na niego, nawet Iwanow zląkł się i odstąpił. Patrzę na nią, twarz jej zbladła, ani kropelka krwi, a oczy pociemniały i zła, ach, jaka zła...

Nogą tupie i mówi coś szybko, tylko że doprawdy nie słuchałem nawet uważnie, co mówiła. „Smotritiel“*) także się zląkł i przyniósł wody w szklance.

— Niech się pani uspokoi — prosi ją — nad samą sobą się zlituje.

A ona i na niego napadła.

— Barbarzyńcy, — mówi — niewolnicy...

I jeszcze dużo obelżywych słów mu powiedziała. Uprowadził ją do drugiego pokoju i z przełożoną niedługo z tamtąd wyszli.

— Nic przy niej nie ma — mówi.

A ona patrzy na niego z drwiącym uśmiechem, a oczy ma takie złe... A Iwanow pijak obrzydliwy, patrzy i ciągle mruczy:

— Nic! według prawa, ja mam — powiada — instrukcyę... Tylko że „smotritel“ na niego uwagi nie zwrócił.

Pojechaliśmy. Przejeżdżamy przez miasto, a ona ciągle w okno patrzy, tak jakby się żegnała, lub znajomych szukała. A Iwanow wziął i zasunął roletkę. Wcisnęła się w kącik i patrzy na nas. Nie wytrzymałem: ująłem za roletkę i jakby chcąc sam wyjrzeć, odsunąłem, by mogła przez okno wyglądać... Tylko, że ona patrzeć nie chciała, ciągle zła w kącie siedzi i wargi do krwi przygryza...

Pojechaliśmy koleją. Pogodnie było w ten dzień, a było to jesienią we wrześniu. Słońce świeci, wiatr jesienny świeży, a ona okno we wagonie otworzyła, na wiatr głowę wychyliła i tak siedzi. Według instrukcyi nie jest to dozwolonem, lecz Iwanow zaraz, jak się do wagonu dostał legł i chrapać zaczął w najlepsze, a ja nie śmiałem jej powiedzieć. Odważyłem się nakoniec, podchodzę do niej i mówię:

— Panienko, proszę zamknąć okno.

Milczy, nie zwracając na mnie uwagi tak, jakbym nie do niej się odezwał, a wiem, że słyszała. Postałem trochę i znowu mówię:

— Panienka się zaziębi, zimno przecież... Obróciła twarz w moję stronę, udając zdziwienie. Popatrzała i mówi cichym głosem:

— Proszę mnie zostawić w spokoju. — Znowu głowę na wiatr wysunęła. Machnąłem ręką i odszedłem. Uspokoiła się nareszcie. Zamknęła okno, otuliła się paltem, widocznie grzeje się. Mówię: „wiatr przejmujący, chłodno cokolwiek“. A ona znowu do okna idzie i znowu cała na wietrze, nie może się widocznie po więzieniu, świata bożego napatrzeć. Powesełała nawet, uśmiechać się do siebie zaczęła i tak mi było dobrze wtedy na nią patrzeć, że doprawdy, gdyby mi ją oddali, zarazbym zamiast na wygnanie, sobie za żonę ją wziął.

Z miasta trzeba było jechać kibitką. Iwanow był pijany strasznie; co się obudzi, to znowu pije. Wyszedł z wagonu, słaniając się. No, myślę sobie, źle, aby tylko pieniędzy skarbowych nie zgubił. Wlazł do kibitki, położył się i wnet chrapać zaczął. Ona popatrzała na niego z obrzydzeniem, zupełnie jak na gadzinę jaką i wcisnęła w kątek tak, aby się go nie dotknąć. Ja siadłem na koźle. Ruszyliśmy. Wiatr zimny się zerwał. Ziąbłem; patrzę, zimno i jej. Zakaszlała silnie, chusteczkę do ust przyłożyła a na chusteczce krew... Tak jakby mnie kto w serce kolnął...

— Jak to można, panienko, — mowię — jechać w taką pogodę, będąc chorą, przecie zimno przejmujące!

Spojrzała na mnie i znowu wzburzenie nią owładnęło.

— Cóż wy, głupi jesteście, czy co? Czy nie rozumiecie, że nie z własnej chęci jadę

*) Dozórca.

draźnienie Göthego przeciw swemu współzawodnikowi. Niebawem jednak tak pociągająca siła młodego geniuszu, przyczyniły się do przełamania lodów.

Istotnie nawiązanie przyjaźni wśród dwojga ludzi, których przodowanie w sztuce ówczesnej powodowało mimowolne współzawodnictwo, z których jeden, stojąc u dworu, otoczony zaszczytami i sławą, musiał być naturalnie draźliwym na wszelką opozycyą ze strony młodszego, mniej sławnego współzawodnika, a których charaktery, usposobienia i skład myśli różniły się prawie biegunowo — było bardzo trudne. Raz jednak zawiązana przyjaźń musiała być silną, trwałą i płodną w następstwa. Obaj uzupełniali się wzajemnie w wielu punktach, oddziaływali na siebie, to dając sobie nawzajem pobudki, to powściągając i łagodząc jednostronność usposobienia lub kończowość myśli.

Göthe był naturą zdrową fizycznie i moralnie: wstawał wcześnie, pracował przeważnie w rannych godzinach, unikał wszelkich sztucznych podniet, nienawidził fajki. — Jego twórczość płynęła z nieświadomych dla niego źródeł: była intuicyjną i bezpośrednią. — Był on człowiekiem życia i epikurejczykiem w nieco szlachetniejszem znaczeniu wyrazu — unikał przykrych wzruszeń, opanowywał namiętności, nigdy nie oddając się całkowicie uczuciu: lubił piękno we wszystkiem i miał szczególny pociąg do przedmiotowości, do przyrodoznawstwa. — Göthe był słabym filozofem, ale panteistą z natury. Schiller był chorowity i słaby: zmuszony do tego po części przez warunki ekonomiczne, po części przez gorączkowy temperament, pracował nadmiernie, szukając podniety w środkach sztucznych i wyczerpując życie dla twórczości: praca nocna, woń zgniłych jabłek, tytoń, gorące okłady na głowę i lód na nogi — wszystko się używało, aby utrzymać w stanie podnieconym znużony umysł. — Twórczość jego była refleksyjną, wiele tam było obmyślanego, płynącego z poglądów filozoficznych, które odznaczały się tak niezwykłą głębią, że zapewniły mu trwałe stanowisko w historyi tej umiejętności.

Potrzebował on wyrozumować przed sobą swoję własną twórczość, dalsze jej oddziaływania i cele; — stąd filozofia sztuki i piękna, którą stworzył.

Mniej dyletant w przyrodoznawstwie od Goethe'go, gdyż skończył szkolę lekarską, miał on zawsze więcej pociągu do wiedzy o człowieku i duchu, do dziejów, a jego twórczość poetycka jest uplastycznieniem wielkich idei Rousseau'a, idei wolności, ideałów przyszłości. Był on zawsze filozofem w swoich poezyach i poetą w twórczości filozoficznej.

Ta przeciwstawność charakterów i rodzajów twórczości była może źródłem, z którego wypływała myśl jednej z najbliższych prac filozoficznych Schillera, należących do okresu jego przyjaźni z Goethe'm — *O poezyi naiwnej i sentymentalnej* (1795—96). Do pierwszej kategoryi zalicza Schiller większą część greków, w tej liczbie Homera, z nowożytnych zaś Szekspira; do sentymentalnych poetów — Eurypidesa, poetów rzymskich i prawie całą poezyę nowożytną. — Pod tym podziałem ukrywa się inny, którego możemy się domyślać, powiada p. Spasowicz: „Schiller zestawia swoję twórczość z twórczością Goethe'go z drugiego okresu, do którego należą dzieła, napisane po powrocie z Włoch i aż do starości, kiedy zaczął tworzyć rzeczy już tylko symboliczne. — Schiller broni swojego rodzaju twórczości dowodząc jego prawności i konieczności. — Pierwszy gatunek poezyi przedstawia naturę w najrozleglejszem znaczeniu, a zatem i człowieka bezpośrednio i z pierwszej ręki, zmysłowo i plastycznie, bez żadnego względu, czy przedstawienie będzie piękne, byle było prawdziwe, nie narzucając widzowi żadnych swoich pomysłów, żadnego ideału, uniewidomiając się za obrazem, jak Bóg się uniewidomia w stworzeniu. — Drugi gatunek właściwy jest sztuczniejszym i skomplikowańszym układem społecznym, rwącym się ku pierwotności, ku naturze wyzwolonej z więzi (?) nienaturalnych stosunków i zwyczajów (str. 35—37). Może dokładniej byłoby powiedzieć, że pierwszy rodzaj jest wyrazem naiwnej uczuciowości ludów młodzieńczych i dla tego obraca się w obrębie najprzystępniejszych uczuć: drugi odpowiada wysoce skomplikowanej duszy człowieka ucywilizowanego. Dla tego też nazwa poezyi *sentymentalnej*, t. j. posiadającej pewne wyrobienie uczuciowe, przeciwko której robi zarzuty p. Spasowicz, jest w istocie bardzo trafną. — Stosunek obu rodzajów jest taki, jak pieśni ludowej do symfonii Beethowena.

Rzecz prosta, że rodzaj „sentymentalny" więcej przypada do potrzeb człowieka wykształconego, niż naiwny i to tłomaczy nam, dla czego Schiller został najpopularniejszym z poetów.

Ale potrzebujemy nieraz odświeżyć umysł, zmęczony wysiłkami, jakich wymaga ujęcie utworu sentymalnego (czyli refleksyjnego), i wtedy zanurzamy się w świeży zdrój poezyi naiwnej.

Goethe żartował z tego podziału: był on zresztą wrogiem wszelkiej analizy. — Prawdą jest, że w życiu rodzaje te nigdzie nie są tak rozdzielone jak w teoryi: niemniej jednak sam on, chociaż w wielu utworach nienaiwny, zbliżał się niezawodnie do tego typu. — To też chętnie przechodzimy do Goethego, aby w jego pogodnej twórczości znaleźć wypoczynek od idejowych namiętności i burz poezyi Schillera.

Różnica objawia się i w sposobie tworzenia: u Schillera nastrój poetyczny czyli natchnienie zjawiało się bez określenia formy, którą dawała dopiero myśl: „U mnie, pisze on do Goethego, uczucie bywa początkowo bez określonego i jasnego przedmiotu, ten się wyjaśnia później. — Poprzedza go pewien nastrój uczuciowy, muzykalny i dopiero po tym następuje pomysł poetyczny." — Skoro raz powstał plan, Schiller wykonywał go z całą świadomością, obmyślajac szczegóły, rozmawiając chętnie o przyszłym utworze, pracując dzień po dniu. — Słowem był on zupełnym panem swojej twórczości.

U Goethego przeciwnie, sam nastrój twórczy objawiał się już z gotową ideą poetyczną, płynącą ze źródeł nieświadomych. — Nie lubił on zwierzać się ze swojemi planami: „Wiem, mówił, że nigdy nic nie zrobię, skoro komukolwiek zwierzę się z mego planu w robocie, albo skoro go komu wyłożę."

Na tle tej przeciwstawności typów, charakterów i sposobów myślenia, przebiega autor nasz poglądy estetyczne Schillera i polityczne Goethego, oraz owoce związku obu poetów, t. j. te utwory poetyckie, w których daje się widzieć bezpośrednie wzajemne oddziaływanie. — Do takich należą ze strony Goethego przeważnie *„Faust"* i *„Lata uczniowskie Wilhelma Majstra."* Oprócz kilku scen początkowych z „Fausta", wydrukowanych w r. 1790, napisane już były w Rzymie sceny *„Kuchnia wiedźm"* i *„Wald und Hoehe"* oraz cała prawie tragedya Małgosi, doprowadzona do jej pokuty, a napisana pod wpływem wspomnień miłości dla Fryderyki Brion, w której kochał się Goethe, będąc studentem. — Dopiero w r. 1797 po długich namowach ze strony Schillera przystąpił Goethe do dalszej pracy nad najznakomitszym z utworów swoich.

„Lata uczniowskie" zaczęte były w r. 1775; do 1785 napisane było sześć ksiąg; Schiller wpłynął tylko na dwie ostatnie, odczytując rękopis i robiąc na marginesach uwagi, które pobudzały Goethego do przeróbek.

Dalej wspólnie i to tak, że często nie można dojść, kto był autorem, pisana jest większa część *Ksenij* — satyrycznych epigramatów, mających na celu poprawienie smaku i sądów publiczności niemieckiej. — W tym samym czasie (1796—97) stworzył Goethe *Hermana i Dorotę*, dzieło, którym zachwycony był Schiller. Prócz tego wydał on *Absatz ueber etische und dramatische Dichtung* ułożony z własnych notat i wy-

---

Dobry, mówi, sam wiezie i jeszcze ze współczuciem wyjeżdża!

— Dla czego się pani nie zamelduje władzy, jako chora — mówię — lepiej przecież w szpitalu leżeć, niżeli na takie zimno jechać. Droga przecież niekrótka...

— A gdzie? — pyta.

— Mamy surowo zabronione objaśniać przestępców, gdzie ich wieźć przykazano.

Odwróciła się na to i mówi:

— Nie trzeba, ja tylko tak... Nie mówcie, ale dajcie mi przynajmniej spokój.

Nie wytrzymałem.

— Ot — mówię — gdzie pani jedzie. Nie blisko.

Zacisnęła usta, brwi ściągnęła, ale nic się nie odezwała. Pokiwałem głową.

— Ot — mówię — panienka młoda i nie wie jeszcze, co to znaczy.

Bardzo mi żal było, — a ona spojrzała i mówi:

— Napróżno tak sądzicie. Wiem ja dobrze, co to znaczy, a jednak do szpitala nie pójdę. Dziękuję. Lepiej umierać na swobodzie, niż w waszym szpitalu więziennym. Czy wy sądzicie, że ja z wiatru, z przeziębienia zachorowałam?

— Czy pani ma tam krewnych? — pytam się jej, gdyż mówiła mi, że chce się u *swoich* leczyć.

— Nie mam tam żadnych — mówi — krewnych, ani znajomych. Miasta nie znam, ale są tam pewnie tacy, jak ja zesłani.

Zdziwiłem się, że obcych nazywa ona „swoimi", czyżby ją kto za darmo chciał żywić, a w dodatku nieznajomą? Nie rozpytywałem ją więcej o to, gdyż widzę, brwi ściąga, niezadowolona z mojej ciekawości.

Pod wieczór zaczęły się gromadzić chmury, wiatr chłodny powiał i deszcz począł padać. Błoto, którego i przedtem nie brakowało, teraz stawało się coraz większem. Całe plecy miałem ochlapane, a i jej porządnie zaczęło się dostawać. Jednem słowem, pogoda, na jej nieszczęście, była jak najgorszą. Ni kryta kibitka, ni rogoza, którą ją osłoniłem, nie pomagały. Wszędzie cieknie, przeziębła cała, drży i oczy zamknęła. Po twarzy krople deszczowe jej ściekają, policzki ma blade i siedzi nieruchoma, jakby nieprzytomna. Zląkłem się, widząc, że zaczyna być źle.

Do miasta J... przyjechaliśmy nad samym wieczorem. Obudziłem Iwanowa i kazałem nastawić samowar. Z miasta tego kursują parowce, ale według instrukcyi nie wolno nam wozić nimi przestępców. Chociaż to i dla nas samych byłoby wygodniej i oszczędzić coś na tem można, ale strach. Na przystani, jak pan wie, kręcą się policyanci, a nawet i nasz brat żandarm zadenuncyować może.

A ona mówi:

— Ja dalej końmi nie pojadę: róbcie, co chcecie, a musicie mnie wieźć statkiem.

Iwanow, zły, ale już trochę wytrzeźwiony, mówi:

— Nie pani rzecz o tem rozprawiać. Gdzie zawiozą, tam się i pojedzie.

Nic mu nie odpowiedziała, odwróciła się tylko do mnie, mówiąc:

— Słyszeliście, com powiedziała, nie jadę!

Wziąłem Iwanowa na stronę. Mówię:

— Trzeba statkiem wieźć, — dla was lepiej, oszczędzicie trochę.

Jemu się to podobało, ale tchórz go obleciał...

— Tu — mówi — pułkownik jest, jeszcze będzie bryja,.. Idź, mówi do mnie, poproś, ja jestem jakiś niezdrów.

— Pułkownik mieszkał niedaleko.

— Chodźmy — mówię — razem i ją weźmiemy z sobą.

Bałem się: Iwanow pijany, położy się spać i może się stać nieszczęście. Dziewczyna ucieknie, albo sobie co zrobi i odpowiedzialność spadnie na nas. Poszliśmy do pułkownika. Wyszedł do nas i pyta, czego nam potrzeba. Ona mu objaśnia, ale niełądnie z nim rozmawia. Zamiast, żeby prosić grzecznie, zaczęła po swojemu:

— Jakiem prawem — mówi itp. same obelżywe słowa. (Dokończenie nastąpi.)

ciągów z listów Schillera. — Pomijamy drobniejsze rzeczy, aby przejść do twórczości tego ostatniego.

Oprócz kilku rozpraw o sztuce należą do tego okresu najwybitniejsze utwory młodszego z poetów: *Wallenstein*, *Oblubienica z Messyny*, *Marya Stuart*, *Dziewica Orleańska* i *Wilhelm Tell*.

Do ostatniego, jak wiadomo, dostarczył mu Goethe materyałów, które zebrał podczas podróży po Szwajcaryi w r. 1797, mając na myśli poemat tej treści. W r. 1802, znalazłszy materyał historyczny w kronice Tschudiego przystąpił Schiller do tego arcydzieła, które przedstawione było na scenie Berlińskiej w r. 1804 i sprawiło kolosalne wrażenie.

Żałować należy, że jak w samym układzie materyału książki jest pewna chaotyczność, tak i język jest bardzo zaniedbany, miejscami pełen błędów; tak wszędzie p. Spasowicz używa: *„niedziałka“* zamiast *„osobnika“*; gdzie niegdzie spotykamy takie potworności jak „na ten koniec“ zamiast w tym celu, „przydziela“ (str. 60) zamiast przypisuje (str. 60) i inne. Niemiłe też robi wrażenie, tłomaczenie w listach niemieckiego *Sie* na polskie *Wy*; zwrót ten wprawdzie używa się często w mowie potocznej, ale niemile razi w druku.

Wł. M. Kozłowski.

Z poezyi najświeższej doby.

(*Andrzej Niemojewski: Z Cyklu „Polonia irredenta“ — Podziemia. Lwów 1895.*)

Pod tytułem „Podziemia“ ukazała się serya pierwsza poematów Andrzeja Niemojewskiego z cyklu „Polonia irredenta“. Książeczka to niewielka, zaledwie dwadzieścia i kilka stronnic druku licząca, a jednak godna bliższej i głębszej uwagi, aniżeli tomowe zbiory „poezyi“ modnych naszych rymorobów w rodzaju pp. Gawalewiczów, Jankowskich, Glińskich itp., dzierżących u nas niestety buławę poezyi polskiej. Czego bowiem tym fabrykantom wierszy niedostaje: siła i głębia uczucia, zapał ognisty dla dobrej sprawy, szczere natchnienie, czerpane w współczuciu dla uciśnionych i cierpiących — to wszystko zmieścił Niemojewski w swoim skromnym na ilość, lecz jakością prawdziwie bogatym zbiorku „Podziemia“.

Pobyt dłuższy wśród rzeszy robotników górniczych, tych prawdziwych paryasów niedoli, spędzających swe życie wśród ciągłego znoju i strasznych niebezpieczeństw podziemi kopalń; — widok nędzarzy, zapracowujących się na to, aby nędzne życie utrzymać, a nie zdolnych zapewnić sobie najskromniejszego bytu; — obserwacyą tej cichej, ale śmiertelnej walki pracy z wyzyskiem, nie występującej nigdzie w tak jaskrawych momentach, jak w przemyśle górniczym, — oto czynniki, które pobudziły twórczość młodego poety, wyposażając talent jego w wspaniałe zasoby szczerego oburzenia na niesprawiedliwości ludzkie.

Szereg obrazków, skreślonych przez A. Niemojewskiego w „w Podziemiach“ — to drobne, lecz w najmniejszych szczegółach wykończane miniatury życia robotniczego, odznaczające się wiernością zdjęcia i artyzmem wykonania. Czyż taki „Upiór kopalni“, dziad nędzny, który postradawszy w kopalni młodość i zdrowie, zniszczone nadludzkim wysiłkiem i syna, zabitego odłamem skalnym, błaga przechodniów, równie jak on nieszczęśliwych, o grosz i wzywa litości językiem najczulszej prośby i najstraszniejszego zwątpienia; czyż postać taka nie wryje się w pamięć czytelnika jako straszna przestroga? Któż nie zadrży, czytając wspaniałe opisy niebezpieczeństw, tchnących zagładą i czyhających za każdym załomem, za każdą czeluścią podziemnych krużganków? Któryż robotnik nie uczuje żywszego bicia serca, któremuż krew nie pokrąży żywiej w żyłach przy czytaniu namiętnych strof „Domu zbornego“?

Mimo to poezye Niemojewskiego nie są utworami tendencyjnemi w tem rozumieniu tego słowa, jakie ono zyskało w codziennem użyciu. Z żadnego wiersza jego nie przebija jakaś wyraźna brutalna aluzya, jakiś dosadni i gruby odnośnik. Myśl zawartą w pięknej, jakby toczącej formie jego wiersza — wznosi się nad poziom zwykłych spraw potocznych: nabiera ona ogólniejszego znaczenia: szybuje po przestworzu idei ogólno-ludzkiej, a nie zniża się nigdy do walki w imię potrzeb chwili. Stąd poezye Niemojewskiego stoją o wiele wyżej n. p. od utworów Karola Henkla, który w Niemczech zbiera laury za swoje śmiałe i jędrne, ale dopasowane do chwilowych prądów wiersze. Utwory Niemojewskiego mogą silne wywrzeć wrażenie na każdym, kto tylko zdolen jest odczuć piękno i grozę walki życiowej, zawierają bowiem pod osłoną obrazów z życia rzeczywistego i świetnych nieraz opisów kopalń — głęboką myśl filozoficzną.

Każde wrażenie nowe, odniesione w podziemiu, wywyluje w duszy poety odrazu refleksyę. Pod jej wpływem rodzą się w jego umyśle analogie natury ogólnej. Fakt na oko drobny i zwykły urasta w oczach jego do znaczenia symbolu, który poeta umie wyrazić w słowach zarówno prostych, jak wymownych.

Oto widok zjazdu górników w ciemną otchłań kopalni, nasuwa mu na myśl bezcelowość bytu i dążeń ludzkości i wtedy poeta śpiewa:

I lecim w głąb ziemi... Kaganiec ściany trąca
A w koło brzmi cicho głos rzewny:
„Ty chciwy człowieku! Czy nie żal ci słońca?
„Czy wrócisz?“ — Któż pyta!... my lecim bez końca,
Jak ludzkość... na fali niepewnej!

a dalej okrzyk oburzenia wyrywa mu się z piersi, na widok niewolników, pracujących bez uznania dla „dobrobytu narodowego“:

Narodu obrońcy! Czy znacie wy ludzi,
Co naród ów karmią i poją?
Czy znacie ten motłoch, co wiecznie się trudzi?
Te boje podziemne, upiory tych ludzi?
Co na dnie kopalń się roją?...
Kto głosi ich tryumf? Kto płacze ich klęski?
Kto ofiar tych pomni nazwiska?
Precz żale!... Nieznany tłum wiedzie bój męski,
Gdzieś w ziemi głęboko ponosi swe klęski..
Gdzieś w ziemi... nieznane mrowiska!...

Szyny pochylni, po których grzmią wózki bez końca, czyż nie przypominają owej drogi pochyłej, po której toczym się wszyscy, niezdolni powstrzymać parcia?

...Kto stanął na torze pochylni,
Już nigdy w spokoju nie legnie!
Lecz d o k ą d my bieżym, my ludzie omylni?...
Świat cały po jakiejś szaleje pochylni
I nie wie, jak kresu dobiegnie!

Daremnie ostrzega go głos wieczności proroczy; siła bezwładności jest nieprzeparta i niezwyciężony jest prąd nią wywołany.

Niezwykła gorycz ironii przebija z ostatniego w zbiorku „Podziemie“ ustępu, zatytułowanego „Dom zborny“. Porównanie wykwintnych gmachów sejmowych, w których śmietanka sfer uprzywilijowanych stanowi prawa i obmyśla ustawy z czarnym, odrapanym domem zbornym robotniczym, — napawa poetę otuchą, że to, czego pierwsze nie zdołały wydać, wyjdzie z drugiego. Poemacik Niemojewskiego pod wpływem tej otuchy, zamienia się na pobudkę, pełną silnych i dźwięcznych tonów, zlewających się przy końcu w potężną fanfarę zwycięstwa.

J. Sue.

Witold Pruszkowski.

(*Dokończenie.*)

Na zachód od Krakowa, po za Bielanami, w bok od Liszek, znajduje się perła okolic krakowskich: urocza dolina mnikowska. Ciągnie

HRABIA LEW TOŁSTOJ.

BEZCZYNNOŚĆ.

(Tłum. **H. St.**)

(Ciąg dalszy.)

Zola twierdzi, iż praca czyni człowieka dobrym — ja zaś przeciwnie, zauważyłem, że praca, jako taka, nie tylko mrówkę, ale i człowieka czyni okrutnym. Najwięksi złoczyńcy pracowali zawsze, nie próżnując ani na chwilę, spragnieni bezustannie zajęcia i rozrywek. W każdym razie, jeźli praca nie jest zdeklarowanym występkiem, to jednakże żadną miarą nie można nazywać jej cnotą; ona jest potrzebą, która niezaspokojona, wywołuje cierpienie, lecz cnotą nie staje się nigdy. Wyniesienie pracy do rzędu cnoty, jest również niedorzecznem, jak niedorzecznem byłoby nazywać zaspokojenie własnych potrzeb żołądkowych godnością lub zaletą. Jedynie wziąwszy pracę jako reakcyę przeciw próżniactwu, które mianowano charakterystyczną cechą arystokracyi i które uważa się jeszcze za pewien rodzaj godności w warstwach bogatych, a mało umysłowo uposażonych, można by jej przypisać to znaczenie, jakiem ogólnie cieszy się obecnie.

Praca tj. czynność naszych organów jest dla człowieka zawsze koniecznością, czego dowodzi również zachowanie się cieląt, skakających około pala, do którego je przywiązano; podobnie świadczy o tem postępowanie ludzi bogatych, owych męczenników gimnastyki i zabaw wszelkiego rodzaju, jak gry w karty, szachy, lawn tennis itd.

Praca nie jest cnotą, ona w naszem, źle zorganizowanem społeczeństwie stała się po większej części środkiem zabójczym, tępiącym w nas zmysł moralności, podobnie, jak palenie tytoniu i używanie gorących napojów, służące do utajenia przed samym sobą wszelkich nieregularności i zdrożności naszego życia. „Bo jakże mogę pomówić o filozofii, moralności, religii — skoro zredagować muszę gazetę, mającą pół miliona abonentów, budować wieżę Eiffel, zaaranżować wystawę w Chicago, wydać 28-my tom swych dzieł, dokończyć obraz, operę itd.?“ Gdyby ludzie nie mieli zawsze wymówki, że na nich ciąży obowiązek pracy, nie żyliby tak, jak żyją obecnie. Dzięki jedynie tej bezstreściwej, zwykle szkodliwej pracy tają oni przed sobą te wszystkie sprzeczności, w jakich żyją, — jedynie dzięki tej okoliczności mogą wieść żywot na sposób dzisiejszy.

I taki to środek zaleca Zola swoim słuchaczom. On powiada wręcz: „to jest tylko środek empiryczny, by wieść życie uczciwe i prawie spokojne. Jestże to atoli małą zdobyczą, jeżeli przez to nie tylko moralne i fizyczne zdrowie zyskamy, lecz po prostu rozstrzygniemy kwestyą o szczęściu człowieka.“ Taką to radę daje Zola naszej młodzieży.

Jakiem jest zdanie Dumasa?

Zola w swej przemowie ma wyłącznie na myśli młodzież, stara jej się przypodobać, a nawiasem mówiąc, zwyczaj ten na równi z manją schlebiania kobietom wprowadzają w modę niektórzy spółcześni pisarze. Dumas zaś nie zwraca się wyłącznie do młodzieży — lecz objaśnia wiele rzeczy ludziom dojrzałym. Dumas nie prawi młodzieży komplementów, nie schlebia, twierdząc, iż ona odgrywa w społeczeństwie wielką rolę i że w niej spoczywają wszystkie zasoby siły, — przeciwnie, on wiedząc, iż podobne przeświadczenie byłoby tylko dla niej zaporą do stworzenia czegoś dobrego i rozsądnego, gromi ją za zbytnią ufność w własne siły. Zola pragnie ludzi do snu ukołysać, radząc im pozostać na drodze, którą idą obecnie, i wpierając w nich, że to, co umieją, jest właśnie to, co umieć powinni; Dumas zaś budzi ludzi, wykazując im, że postępują błędną drogą; on ich przekonać usiłuje, że nie wiedzą właśnie tego, co wiedzieć powinni. Dumas nie wierzy w przesądy przeszłości, jak również nie wierzy w przesądy teraźniejszości, lecz właśnie dla tego, że wiary swej na nich nie oparł, myśli samodzielnie. Z tej to właśnie przyczyny widzi teraźniejszość i przyszłość również jasno, jak ci, co

się długo wśród dwóch rzędów skał wapiennych, zdumiewających rozmaitością kształtów. Mieszkaniec Królestwa, znalazłszy się w niej przypadkiem przypuszczałby, że go zawieziono do Ojcowa. A nawet są tacy, którzy Mników nad Ojców przekładają.....

Otóż we wsi Mnikowie, leżącej przy wejściu do doliny, nabył sobie Pruszkowski kawał gruntu, wybudował dom z obszerną pracownią i zamieszkał w nim z rodziną około 1882 r. Zadowolnił jednocześnie dwie swoje namiętności: upajał oko pięknością przyrody i wszedł w blizkie, bezpośrednie stosunki z ludem. To też cały prawie czas, wolny od zajęć i pracy, poświęcił obcowaniu z sąsiadami swymi w sukmanach i siermięgach.

Z pracowni mnikowskiej wyszła znaczna część wymienionych powyżej jego obrazów, zacząwszy od „Umizgów“ i „Sielanki“.

Zamieszkanie Pruszkowskiego w Mnikowie miało swe złe i dobre strony. Dobrą strona była łatwość studjowania natury i typów ludowych, dwóch głównych wówczas źródeł natchnienia artysty. Ale zamknięcie się w zbyt ciasnej sferze, prowadząc za sobą nieuniknione w części zerwanie stosunków z szerszym światem, nie może pozostać bez pewnego ujemnego wpływu na wszelką twórczość artystyczną. Są ludzie pióra, którzy, przeniósłszy się z miasta na wieś, usypiają całkiem na zdobytych laurach: inni, mieszkający na wsi odwiedzają miasto na czas dłuższy jedynie po to, aby w niem pracować nad wcieleniem swych pomysłów. Nie ulega też wątpliwości, że zmniejszyła się w Mnikowie płodność Pruszkowskiego. I choć powiedziałem powyżej, że ziściły się pokładane w nim nadzieje, ale chłodno się zastanawiając, muszę dodać: nie wszystkie. Dał wiele, bardzo wiele, ale nie tyle, ile dać był wstanie.

Zerwanie z Krakowem miało jeszcze inną ujemną stronę. Zabrakło wśród gromadki artystycznej spójnika, który ją łączył; zabrakło Pruszkowskiego w życiu towarzyskiem: brak jego dewał się uczuwać w instytucjach i sprawach na jakie wpływ wywierał. Jedyną jego w ostatnich latach działalnością po za artystyczną było przewodniczenie komitetowi, zbierającemu składki na pomnik Grottgera.

Pruszkowski sam zresztą musiał odczuwać, że mu za ciasno w Mnikowie, przed rokiem bowiem przeniósł się na dłuższy czas do Krakowa i otworzył w nim swoją pracownię.

Szkic mój portretowy jest już na ukończeniu, ale potrzeba go jeszcze paru dotknięciami uzupełnić.

Wszyscy, zajmujący się sztuką, wiedzą,, co Pruszkowski namalował, ale mało kto zna sposób jego tworzenia. Zabiera się zwykle gorąco do roboty, maluje tydzień, dwa, aż wreszcie, „najadłszy się“ tematu, stawia niedokończony obraz przy drzwiach, lub koło pieca i zaczyna malować co innego. Po pewnym czasie zaczyna go irytować męczyć, że wpół malowane obrazy odpoczywają za długo po kątach pracowni. W takim razie bierze jeden z nich, stawia przed sobą i namyśla się, co z nim zrobić. Czasem jeżeli nie czuje w sobie ochoty do ukończenia obrazu, to na tem samem płótnie tworzy inną kompozycyę. Zdarza się to rzadko, ale się zdarza. Częściej zabiera się do wykończenia, ale nie ma już tego zapału, nie nęci go temat już tak, jak nęcił w początkach, a więc zamiast poświęcić obrazowi jeszcze z miesiąc czasu, załatwia się z nim w ciągu tygodnia. Czy tej metody trzyma się i dzisiaj, nie wiem, ale dawniej w ten sposób powstawały jego obrazy.

Imponująca łatwość, nadzwyczajna wprawa w malowaniu pozwala Pruszkowskiemu tworzyć niezmiernie szybko. Nigdy nie robi szkicu olejnego do obrazu, rzadko nawet kiedy raczy rzucić na płótno pierwszy szkic węglem, narysować kontury, zaznaczyć z lekka kompozycyę. A jemu to na co? Układ i szczegóły ma już w głowie, a pędzel jest tylko tragarzem, który przenosi je od razu na czyste płótno i ustawia w miejscach właściwych. Przyglądałem się raz, jak P. malował pewien portret, będący na wpół obrazkiem rodzajowym. Portretowanego przedstawił w całej postaci, w połowie naturalnej wielkości. W przeciągu godziny podłożył cały portret, następną godzinę poświęcił na wykończenie twarzy. Za drugiem posiedzeniem, trwającem nie więcej jak dwie do trzech godzin, cały portret był zupełnie gotów. Po za tem potrzebował już tylko paru godzin, ażeby narzucić z lekka, jako tło, pejsaż zimowy. Dobrze licząc, zajęła mu ta robota sześć do ośmiu godzin czasu.

Ten sposób malowania zadziwiał wtajemniczonych, ale dostarczał strawy powołanym i niepowołanym, a zawsze chcącym zaspokoić swój głód krytykom. Rysownik znakomity, już w szkole monachijskiej zachwycający nauczycieli dokładnością rysunku, malarz, któremu technika malarska odkryła wszelkie swe tajemnice, raził w znacznej części swych obrazów jakiemś szczegółem, jakiemś „puszczeniem“ pewnej partyi, jakiemś niedomalowaniem, niedorysowaniem, lub przerysowaniem. Ale zważywszy, iż w Madonnie Sykstyńskiej znaleziono już pono 365 błędów, tj. po jednym na każdy dzień roku, możemy Pruszkowskiemu darować szczegóły wobec tak pięknych całości.

Rysem charakterystycznym Pruszkowskiego jako człowieka i kolegi, jest brak wszelkiej zazdrości. Zapewne, że nie ma tak dalece czego komu zadrościć, ale czyż mało jest ludzi, będących w tem samem położeniu, którzy nie są w stanie oprzeć się temu uczuciu, tak bądź, co bądź pospolitemu, dziwnie zespolonemu z naturą ludzką. Nie mówię o miernotach, które niczyjego powodzenia znieść nie mogę, które nie przebierają nawet w nędznych środkach, aby podstawić nogę ludziom o głowę ich przerastającym. Myślę o tych, co stojąc rzeczywiście na pewnej wyżynie, nie chcą na nią dopuścić nikogo, choć miejsca jest dosyć nie na jednego, ale na dziesięciu.

Na ten brak zazdrości, na to oddanie hołdu cudzym zdolnościom przez Pruszkowskiego, mam fakt drobny, ale całkiem wystarczający, aby opowiedziawszy go, wyrzec: co było do dowiedzenia.

W roku 1879 czy 1880, kiedy krakowska wystawa Sztuk pięknych znajdowała się jeszcze w pałacu biskupim, znajdowały się na niej, między innemi, cztery drobne, ale bardzo ładne akwarelki nieznanego całkiem malarza. Niewiele przywięzując do nich wartości, powieszono je gdzieś w kącie, a i autor mało je widocznie cenił, kiedy położył na każdym cenę 20 złr. Pamiętam, jak z Michałem Bałuckim pobiegliśmy zaraz do kancelaryi Towarzystwa, aby mimo chudych kieszeni literackich stać się „mecenasami“ sztuki — na nieszczęście przyszliśmy w chwili, kiedy ktoś wypłacał 80 złr. za wszystkie cztery akwarelle.

Jako ówczesny korespondent „Kłosów“, pisałem właśnie obszerniejsze do tego pisma sprawozdanie z wystawy. Kiedy artykuł był już prawie skończony, odwiedził mnie Pruszkowski. Skorzystałem z tej sposobności i przeczytałem mu korespondencyę, prosząc go o zdanie, uzupełnienia i uwagi. Udzielił mi ich chętnie, ale kiedy z kolei odczytałem bardzo pochlebny ustęp o tych czterech akwarelach, Pruszkowski powiedział, że należy o nich przynajmniej dwa razy tyle napisać, zaznaczyć wyraźnie, iż są największym klejnotem na wystawie i oznajmić lubownikom sztuki ukazanie się nowego wielkiego talentu. W kilka lat później o akwarelach tego samego artysty wszyscy już tak mówili, jak Pruszkowski. Akwaralistą tym był Fałat, nominowany już dziś podobno dyrektorem krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych po Matejce.

Kiedy sprawozdanie, nieopatrzone moim podpisem, było wydrukowane w „Kłosach“, przez parę tygodni artyści o niem tylko mówili i dziwili się, zkąd u licha w Krakowie znalazł się taki prawdziwy znawca sztuki. Gdybym się przyznał do autorstwa, byłbym, dzięki Pruszkowskiemu, stał sie gwiazdą na zachmurzonem nieboskłonie naszej krytyki artystycznej,

Fakt ten, odsłaniając piękną stronę chara-

---

w starożytności szczycili się mianem „jasnowidzących proroków“.

Choć może zadziwi to tego, co czytując dzieło jakieś, zwykł patrzeć na zewnętrzną jego stronę, zamiast wnikać w duszę autora, jednakże bądź co bądź ten Dumas, który napisał: „Dame aux Camélias“, „L'afaire Clémenceau“ itd., jest tym samym Dumasem, który dziś widzi przyszłość przed sobą i ją przepowiada.

Choć może i nas to zadziwi — nas, co wyobrażamy sobie proroków, odzianych w koźle skóry i żyjących hen — w puszczach odległych, jednakże proroctwo pozostanie proroctwem, chociaż nie odbija się o brzegi Jordanu, lecz rozbrzmiewa nad Sekwaną w typografii dziennika „Gaulois.“ Słowa Dumasa są istotnie proroctwem i noszą na sobie wszystkie jego znamiona. Najpierw stoją one w zupełnej sprzeczności z opinią społeczeństwa, — powtóre, mimo tej sprzeczności ludzie, którzy je słyszą, sami nie wiedząc dla czego, zgadzają się na nie — a po trzecie, proroctwo to przyczyni się do urzeczywistnienia tego, co przepowiada. Im silniej ludzie wierzyć będą, iż bez własnej woli, tylko za pomocą jakiejś zewnętrznej, samej z siebie działającej siły dojdą do przeobrażenia i naprawy życia, tem dłużej właśnie nie nadejdzie ta chwila przeobrażenia i naprawy.

Oto błąd główny u Zoli. I na odwrót. Czas przeobrażenia tem wcześniej nadejdzie, im prędzej ludzie uwierzą w prorocze słowa Dumasa, że niebawem zabłyśnie chwila, w której wszyscy bez wyjątku pokochają się wzajemnie i z własnego popędu zmienią sposób życia. To przekonanie właśnie jest główną zaletą listu Dumasa.

Zola pragnie odwrócić ludzi od wszelkiej zmiany, radząc im postępować ciągle na tej samej drodze i podwoić działalność w raz już obranym kierunku. — Dumas przeciwnie. On przepowiadając przemianę uczuć ludzkich, pragnie ich nakłonić, by zmienili życie. Dumas przepowiada, iż ludzie, wypróbowawszy już wszystkie środki, zaczną wreszcie praktykować przykazania miłości bliźniego, iż nadejdzie czas, w którym ogarnie ich formalny szał wzajemnej miłości. Dalej twierdzi Dumas, że dostrzega już między zjawiskami, zapowiadającemi się tak groźnie, pierwsze brzaski wschodzącej jutrzenki miłości — że zbrojne narody nie żywią już względem siebie uczuć nienawistnych, w walce bogatych z nędzarzami nie rozpiera się tryumf zwycięzców — przeciwnie, serca wszystkich napełniają się współczuciem dla pokonanych, zwycięzcy nie święcą tryumfu, lecz go się wstydzą, a wreszcie wytworzyły się środowiska atrakcyjne miłości, które, podobne śnieżnym lawinom, olbrzymieją i póty przyciągać do siebie będą wszelkie istoty żyjące, póki się z niemi nie złączą. Dumas, pragnąc w ten sposób zmienić opinią ludzi zamierza zniszczyć wszelkie zło, które trapi ludzkość całą.

Można nie wierzyć w nadejście tego duchowego przeobrażenia, zapowiedzianego przez Dumasa, można całkiem zaprzeczyć przypuszczeniu, jakoby wszyscy ludzie pokochali się kiedyś nawzajem, lecz zdaniem mojem. nikt temu zaprzeczyć nie może, że w danym razie pozbyłaby się ludzkość swych przygnębiających i niebezpiecznych cierpień. Bo każdy to przyzna, że gdyby ludzie pełnili te przykazania, które im Chrystus i wszyscy mędrcy świata już przed tysiącem lat pełnić kazali, tj. gdyby każdy drugich miłował na równi z sobą i nie czynił tego innym, czego sobie nie życzy, gdyby każdy przejął się altruizmem, miasto egoizmem, czyli, mówiąc żargonem niektórych uczonych, gdyby życie indywidualistyczne zamieniło się w życie kolektywistyczne — wówczas dni nasze nie byłyby tak nędzne i pełne cierpień — byłyby szczęśliwsze.

Wszyscy zgadzamy się na jedno, że życie wiedzione na sposób pogański, jak obecnie, przyprawi nas o najstraszniejszą nędzę, której i tak blizcy jesteśmy; przewidujemy wszyscy, że im energiczniej spychać będą jedni drugich na dół i wydzierać sobie wzajemnie wytwory własnej pracy, tem większą będzie nienawiść złupionych, którzy pomszczą tak długo znoszony niedostatek i odbiorą z powrotem to, z czego ich ograbiono; wszyscy uznajemy chrześcijańsko-religijne, lub na tej samej chrześcijańskiej oparte zasadzie świeckie prawo miłości, nakazujące nam sza-

kteru Pruszkowskiego, jest zarazem dokumentem jego znawstwa i bezstronności. Kto nie stykał się bliżej z artystami, może sądzić, iż każdy z nich jest urodzonym krytykiem sztuki. Sąd to byłby mylny. Najwięksi artyści i poeci nie są często zdolni do właściwej oceny prac cudzych. Wszak dla Mickiewicza największym poetą był Garczyński — wszak Matejce ludzie fachowi i kompetentni radzili oddać się artystycznemu... przemysłowi. Na ten temat możnaby napisać cały artykuł, poparty dowodami, przykładami i anegdotami. Ten brak krytycznego sądu między tymi, co go mieć powinni, lub nim się chwalą, wytwarza często sztuczne wielkości, zalewa dzienniki potokami reklamy, a pozostawia w cieniu tych, co w słońcu stać powinni.

A kiedy mowa o reklamie, to trzeba już skończyć pogadankę o Pruszkowskim, aby nie łączyć ze sobą skrajnych sprzeczności. Pozostawiając na boku sztucznie reklamujące się miernoty, rzadko znaleźć człowieka prawdziwego nawet talentu, którыby choć w minimalnej dozie nie czynił choćby najdrobniejszych starań, aby o jego pracach dobrze mówiono, lub pochlebnie pisano. Każdy krytyk prawie odbiera czulsze uściśnienia ręki, lub przyjemniejsze uśmiechy od tych nawet, którym chodzić o jego zdanie nie powinno. Byle reporter już częścią tych łask się cieszy, aby tylko doniósł w kronice, że „z pracowni artysty X. wyszła wspaniała kompozycya“, lub że „poeta Y. wydaje nowy tomik swych znakomitych utworów“. Na sumieniu Pruszkowskiego nie leży ani cień cienia reklamy; owszem, jeżeli o to idzie, to prawdopodobnością swoją tylko się naraził heroldom opinji...

Na łamach pism illustrowanych, na wystawach sklepowych i zakładów fotograficznych spotykamy portrety wszelkiego rodzaju znakomitości — ale zdaje się, że nikt nigdy nie widział portretu, albo fotografii Pruszkowskiego. Jest to także szczegół maleńki, ale nie bez znaczenia, kiedy się mówi o reklamie.

Przepraszam — dopuściłem się kłamstwa. Jest jeden portret Pruszkowskiego: miałem go w swych rękach i pokazywałem kilku osobom, zanim doszedł swego miejsca przeznaczenia, w którem utonął i stał się całkiem niewidzialnym.

W r. 1883 artyści-malarze postanowili ofiarować Matejce album, złożone z prac własnych. Rzecz już była ukończoną, wybrano deputacją, mającą dar zanieść Matejce, kiedy otrzymałem z Mnikowa list i pakiecik. W liście były te słowa: „Mam trzyłokciową prośbę..., Nie mogę sam być w Krakowie, więc udaję się do ciebie, abyś na gwałt wynalazł Stykę i prosił go, aby umieścił ten rysunek w albumie dla Matejki. Jeżeli nie ma wolnych kartek, to przynajmniej niech będzie łaskaw, włożyć poprostu między inne. Spóźniłem się, wbrew zwyczajowi mojemu, ale trudno. Bo co tu narysować? W ostatni dzień dopiero nadarzył mi się piękny i inteligentny typ młodzieńca i narysowałem go“... Dalszą, pełną humoru część listu, pomijam. Na załączonym kartoniku był świetnie narysowany ołówkiem portret Pruszkowskiego w czamarce.

Wzmianką o tym portrecie rysowanym kończę portret pisany.

K. Bartoszewicz.



BADANIA NAUKOWE.

Bankructwo wiedzy.

Znamiennym rysem prądów przejawiających się dzisiaj wśród społeczeństwa francuzkiego, jest artykuł Brunetier'a w „Revue de deux Mondes“, oskarżający wiedzę o bankructwo.

Zdawaćby się mogło, że p. Brunetière, naczelny redaktor Revue i członek akademii francuzkiej raczej w szeregu obrońców niż oskarżycieli wiedzy stawać powinien, i niechybnie posądzilibyśmy go o dezercyą, gdyby akademia, której jest członkiem, jeszcze rzeczywiście wiedzy przybytkiem była, a stateczny miesięcznik, który wydaje, służył w istocie naukowym celom.

Ale czas bieży, a duch? — „flat ubi vult“ i wiedza nietylko, że dawno już wyszła z pod duchownej opieki i rygoru, ale opuściła nawet od dawna oficyalne przybytki, wśród których swojsko czuje się p. Brunetière i senni jego towarzysze, nieśmiertelni swoją sennością.

Nie dziw więc, że p. Brunetière uczuł pustkę i bankructwo krępowanej myśli, majoryzowanej nauki — i moralizowanej literatury, gnieżdżących się w zapylonych murach akademii. Niechybnie ma racyę, że tego rodzaju wiedza zbankrutowała, zbankrutowała nieodwołalnie.

Ale p. Brunetière nie tak zrozumiał wycieczkę swoją przeciwko wiedzy, oskarżając ją, że nie zapewniła ludzkości po tyle razy zapowiedzianego szczęścia, że nie dała odpowiedzi na wiecznie żywotne i wiecznie jeszcze ciemne zagadnienia, zkąd pochodzimy, czem jesteśmy, czem jest i zkąd się wzięło to, co nas otacza, ten tajemniczy zewnętrzny świat i to zagadkowe i czujące ja? — Żadnego z wymienionych zagadnień nie rozwiązała wiedza, przeciwnie, w jaśniejszem świetle pokazała nam tylko niemoc swoją.

Jak dawniej otacza nas tajemniczość, wyłania się zewsząd, obejmuje swojemi ramiony i dusi prawie w uścisku, — tajemniczość, której nauki ścisłe rozwiązać nie zdolne, mimo postępu chemii, fizyki, matematyki, mechaniki.

A czyż antropologia, etnografia i lingwistyka dały odpowiedź na to, czem jesteśmy i dokąd dążymy? gdzie początek mowy ludzkiej i społeczeństwa?

I fizyologia i hebraiści i oryentaliści, a nawet i historya zawiodły również. Boć jeżeli chrześciaństwo całe mieści się w systemach filozofów greckich, to dla czego — pyta francuzki uczony — kazanie na górze podbiło świat, gdy tymczasem „traktat“ Epikteta i „myśli“ Marka Aureliusza czcze pozostały i bezpłodne?

Chciano wykreślić cudowność z początkowej historyi Chrystyanizmu, chciano dowieść nam, że biblia jest sobie tylko książką taką samą, jak Iljada, Odysea, rodzajem semickiej Mahabaraty, tymczasem zamiast rozświetlić kwestyę, pogmatwano ją tylko. Czemżeż bowiem jest owo pokrewieństwo Chrystyanizmu z budaizmem w obec głębokich i zasadniczych różnic dzielących obie nauki?

A potem gdzież jest ścisłość historyczna, gdzie pewność w nauce. Bo pominąwszy już takie kwestye, czy królowie starożytnego Rzymu wogóle istnieli, lub czy są tylko postaciami słonecznego mytu, stawić sobie musimy pytanie: Istniejeż niezmienne prawo dziejowego rozwoju, lub nie? Jesteśmy panami naszego przeznaczenia, lub też niewolnikami jakiejś „wyższej siły“? — A na to pytanie nie odpowiedziała historya.

Przeszedłszy tak kolejno wszystkie nauki, ścisłe i nieścisłe, i zmasakrowawszy zarówno filozofię, jak i filologię, fizykę i historyę, p. Brunetière stwierdza bankructwo wiedzy w tym boju ducha, który od przeszło dwóch wieków toczy nauka z religią. Nauka, która zamierzała wyprzeć religią i zająć jej miejsce, przegrała tym razem i nie ma nadziei, by prędko powetowała porażkę.

Społeczeństwo, przynajmniej we Francyi, pod względem umysłowo-etycznym rozpada się dzisiaj na dwa obozy: tych, którzy odziedziczyli religijno-mistyczne pojmowanie zewnętrznego świata i własnego ja, i tych, którzy je zastąpili pojęciem naukowem, stosując dorobek własnego ducha nietylko w dziedzinie ściśle umysłowej, ale także w etycznej. P. Brunetière więc, reklamujący moralność jako dział obcy wprawdzie pierwotnym pogańskim religiom, ale nierozdzielny z religią w pojęciu chrześciańskiem, wywołał liczne protesty ludzi, oddanych nauce, którzy ani jej bankructwa widzieć, ani się samowiednie etyki wyrzekać, ani wiedzy pod opiekuńcze skrzydła religii poddawać nie chcą.

Charakterystyczną w tym względzie jest zamieszczona w „Revue de Paris“ odpowiedź słynnego chemika Berthelota, mającego wszelkie prawo przemawiać imieniem wiedzy:

Jeżeli mistycyzm na nowo przywłaszcza sobie monopol moralności w imię religijnych zasad, mówi P. M. Berthelot, to zaznaczyć wypada, że moralność nie jest wynikiem religii, ale przeciwnie, religie przywłaszczyły sobie moralność. Mimo to przecież ponawiają one swoje niczem nieuzasadnione reklamacye, głosząc „bankructwo wiedzy“, które przecie jest tylko ostateczną illuzyą osób obcych wiedzy i jej duchowi. Przecież owa wiedza tak długo prześladowana zdobyła sobie dzisiaj niepodległość, jedynie dzięki usługom, które oddała ludzkości, a chociaż dopiero dwa zaledwie minęły wieki, odkąd naukowa metoda od wszelkiej mistycznej się uwolniła przymieszki, jak wielkim pomimo to jest postęp osiągnięty i jakież spłynęły w tym czasie dobrodziejstwa na ludzkość!

Nauka nie ma bynajmniej pretensyi, — iż ostateczne o wszechświecie i jego ustroju wyrzekła słowo, przeciwnie skromnie do nieświadomości swojej się przyznaje i zna jej rozmiary; ale wie z pewnością, że nie ma dwóch źródeł prawdy, jednej objawionej, a drugiej opartej na doświadczeniu i obserwacyi. Wykluczyła ona i wygnała z dziedziny swojej słowa: *tajemnica i cud*, bo wszędy, gdziekolwiek zdołaliśmy dojść do jądra znaleźliśmy, że zawsze były przyczyn i skutków wynikiem. Przeto pozwolić nie możemy, aby nietolerancya mistycznych rojeń zburzyła ów wał ochronny nie do przebycia, który my wznieśliśmy pomiędzy naukową metodą a.... cudem. Wystarczy przypomnieć sobie historyczny rozwój wiedzy, aby zrozumieć całą doniosłość tego, cośmy zdobyli.

Badania nad pierwotnym człowiekiem uczą nas jako rasy ludzkie powoli stworzyły sobie narzędzia, broń, zwyczaje, mocą których człowiek pierwsze swoje po nad przyrodą odniosł zwycięztwo i położył pierwsze podwaliny organizacyi społecznej. Familia, państwo, moralność, cnota wyrastały stopniowo z instynktów towarzyskich, które dziś — jak przed wiekami — u zwierząt zauważyć możemy.

Inteligencya pierwotnego człowieka zbyt była niedostateczną, aby się wznieść do pojmowania oderwanych praw, czy to własnego

---

cunek dla życia drugich i praw ludzkich; wszystko co wiemy, lecz mimo to urządziliśmy sobie życie tak, iż wszystko, co czynimy, jest wbrew naszym korzyściom, naszemu bezpieczeństwu i przepisom religii, którą wyznajemy. Musi zatem istnieć jakaś ukryta ważna przyczyna, która nie dozwala czynić ludziom tego wszystkiego, co byłoby dla nich korzystnem i chroniłoby ich od niebezpieczeństwa moralnego, które przeszkadza w pełnieniu tego, co za obowiązujące prawo religii i moralności poczytują. Bo czyż na to tylko mówią ludziom przez setki i tysiące lat z kazalnic świeckich i duchownych o miłości bliźniego, aby oszukiwali się wzajemnie?

Czas już najwyższy, aby uznać nareszcie, że miłość bliźniego jest rzeczą korzystną, pożyteczną i dobrą, i biorąc ją za modłę, dojść do zupełnego przeobrażenia życia, lub zyskawszy przeświadczenie, że miłość jest tylko czczą mrzonką, przestać już o niej rozprawiać. Jednakże ludzie nie trzymają się ani pierwszego, ani drugiego — żyją ciągle wbrew przykazaniu miłości, lecz nie przestają go wielbić. Wierzą, że miłość jest rzeczą chwalebną i możliwą, lecz nie mogą jej urzeczywistnić.

Zkąd to pochodzi?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

swojego rozwoju, czy danych zjawisk, więc uosabiał je, robiąc z nich istoty żywe, stworzone na swoje własne podobieństwo, jednem słowem dusze i bogów. I taką jest i dziś jeszcze ogólna skłonność stwierdzona przez podróżników u dzikich. A i nasze dzieci chętnie przemieniają w nadludzkie istoty i mary swoje uciechy, a w większej jeszcze mierze swe strachy. Jednem słowem obserwacya uczy, że ludzie skłonni są do objektywizowania własnych myśli, by z nich symbole tworzyć i osoby, którym potem szybko przypisują charakter samoistny, absolutny, boski.

Takim to sposobem w zaraniu cywilizacyi przypisywano każdy wynalazek i wszelką powstającą organizacyę boskiemu objawieniu. Najmędrsi i najuczeńsi z ówczesnych ludzi zbudowali panowanie swoje na czczych i przesądnych zapatrywaniach, a kiedy w Memphis i Babylonie wznosiły się świątynie, skupiała się wszelka wiedza w około ołtarzy; te same osobniki, zbrojne świętością swego powołania, wyobrażały naonczas i religię zarazem i wiedzę. Coś podobnego ponowiło się na początku wieków średnich, w skutek zburzenia starożytnej kultury, przez północnych barbarzyńców.

Ztąd ów szczególny charakter onych pierwotnych nauk, jak astrologii i alchemii, w których pozytywne wyniki łączono z magią i w których skuteczność doświadczalnej praktyki zapewniano sobie używaniem formułek i zaklęć, mających na celu naginanie woli bogów i zapewnienie sobie ich pomocy. Wonczas cud był obowiązkiem bóstwa.

Pierwszymi, którzy prawdziwą wiedzę od owych przymieszek uwolnić zapragnęli, byli filozofowie greccy, to też oskarżono ich zaraz o bezbożność, a oskarżenie to nie przestało odtąd rozbrzmiewać przez dwa tysiące lat. Ale geniusz grecki mimo całej potęgi swojej nie zdobył sobie przecież jasnego pojęcia naukowej metody. Owa metoda została dopiero w XVII i XVII wieku naszej ery odłączoną od „czystej logiki" i utrwaloną, to jest w epoce powstania nauk doświadczalnych: astronomii, mechaniki, chemii, fizyki i historyi naturalnej. Z czasem rozszerzyła się owa metoda i na nauki historyczne i społeczne, w których zastąpiła stary system, będący płodem średniowiecznej teologii. A dodać trzeba, że dopiero za dni naszych została metoda naukowa, mająca na oku pojęcia względne a wykluczająca absolutne, zastósowaną i rozszerzoną do nocyi wszelkiego rodzaju.

Z tego punktu widzenia przedstawia nam się nauka w dwojakiem świetle: Jako pozytywna wiedza, będąca trwałą podwaliną wszelkiej praktyki, tak w materyalnej, jak i moralnej dziedzinie, i jako wiedza idealna, obejmująca nasze nadzieje blizkiej przyszłości, dalekie horyzonty wyobraźni i prawdopodobieństw przyszłych. Łącznikiem pomiędzy niemi pozostaje metoda, bo obserwacya faktów i zjawisk jest źródłem wszelkiej wiedzy.

Jednem słowem wiedza żadnego nie zamyka horyzontu, chociaż nie znaczy to, aby utrzymywać miała, iż zbadała istotę wszechrzeczy. Jeżeli nie cofa się przed rozpatrywaniem problemu ich początku, to przecie nie orzekła nic stanowczego w tej mierze! Ponieważ przekonaliśmy się, że wszystkie nasze pryncypia spoczywają na hypotezach, zapożyczonych z dziedziny obserwacyi faktów, nie działamy nigdy w imię absolutnych pryncypi; kto zaś twierdzi, że się opiera na absolucie nie opiera się na niczem.

Przecież to nie dogmaty religijne ujarzmiły i obróciły na pożytek człowieka siły natury, nie one dały pożytek uczuciom miłości ojczyzny, honoru, zniosły niewolę i tortury, zaprowadziły poszanowanie życia ludzkiego, tolerancyę i wolność między ludźmi. — Więc gdzież tu bankructwo?

Paryż, 27-go lutego 1898.

Zolna.



KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków, dnia 5. marca.

(Śp. Marjan Baraniecki. Greczyzna w gimnazjach. Pogrzebany projekt pisma dla rzemieślników. „Lisystrata" przyczyną rozdwojenia się stronnictwa konserwatywnego.

Przed tygodniem zmarł Marjan Paraniecki, profesor matematyki na uniwersytecie Jagiellońskim. Poważny ten uczony, autor bardzo licznych prac fachowych, podręczników, oraz artykułów treści naukowej i pedagogicznej, był dzieckiem Warszawy, w której też zdobył sobie to uznanie, które go wyniosło na stanowisko zwyczajnego profesora naszego uniwersytetu. Urodzony w r. 1848 ukończył byłą szkołę główną ze stopniem magistra nauk fizyczno-matematycznych. W Lipsku otrzymał stopień magistra *bonarum artium* i doktora filozofii, w Moskwie stopień magistra matematyki teoretycznej. Następnie pełnił obowiązki nauczyciela gimnazyalnego i docenta prywatnego matematyki teoretycznej na uniwersytecie warszawskim. W r. 1885 powołano go jednocześnie na profesora uniwersytetu krakowskiego i politechniki we Lwowie. Z ofiarowanych stanowisk przyjął pierwsze. Zaledwie jednak przez lat kilka mógł pełnić swe obowiązki, gdyż nieuleczalna choroba przyprawiła go o utratę wzroku. Pomimo takiego ciosu nie ustawał w pracy i do ostatnich chwil prawie oddawał się ulubionej nauce i przy pomocy swych uczniów pracował nad podręcznikami. Nad grobem jego przemawiał dziekan wydziału filozoficznego Dr. Anatol Lewicki i były uczeń zmarłego prof. Grabowski,

Podczas pobytu w Krakowie wiceprezydenta Rady szkolnej krajowej Dr. Bobrzyńskiego odbyła się konferencya w sprawie nauki języka greckiego w gimnazyach, w której wzięli udział dyrektorowie i profesorowie gimnazyalni, oraz czterech profesorów uniwersytetu. Wśród dyskusyi oświadczono się za ograniczeniem gramatyki greckiej w gimnazyum niższem do form najniezbędniejszych. Utyskiwano nad brakiem dobrego podręcznika do ćwiczeń na klasy niższe, czemu według oświadczenia Dr. Bobrzyńskiego postanowiła zaradzić Rada szkolna, wezwawszy do napisania nowego podręcznika dwóch profesorów gimnazyalnych. Co do sposobu nauczania uznano, iż należy więcej niż dotychcza kłaść wagi na ćwiczenia ustne, które jednak mają być jedynie środkiem do lektury i zrozumienia arcydzieł literatury greckiej w gimnazyum wyższem. Ponieważ sprawa owej nieszczęsnej greczyzny, gwałtem utrzymywanej w brew prądowi ogólnemu, oświadczającemu się przeciw niej, jest kwestyą, że tak powiem, na dobie, przeto wybaczą może czytelnicy, że piszę z Krakowa.... o greczyźnie.

Nie może się pochwalić dodatniemi rezultatami Towarzystwo oświaty ludowej w sprawie wydawnictwa czasopisma dla rzemieślników polskich. Myśl tę podniesiono już przed czterema laty i wówczas widząc jak się zabierano do wprowadzenia jej w czyn, objawiłem zdanie drukiem, że nie wierzę w dodatni rezultat tego projektu, co starałem się uzasadnić brakiem praktyczności ze strony inicyatorów i całkiem złem zrozumieniem, jakiego właściwie pisma potrzeba dla naszych sfer rzemieślniczych. Gniewano się na to i twierdzono że się nie sprawdzą moje horoskopy. Tymczasem po czterech latach przekonano się, iż prawda leżała po mojej stronie. Wydział Towarzystwa zdaje sprawę ze swoich czynności w tym kierunku, ubolewa iż zebrał niecałe 1500 złr. uważa tę sumę za niedostateczną i ogłasza, że postanowił zaniechać podjętej myśli i zwrócić pieniężne składki ofiarodawcom. Kto się zgłosi po odbiór w ciągu miesiąca, tego ofiara przelaną zostanie do funduszu wydawniczego oświaty ludowej. Chyba tem tylko mogą się pocieszać szanowni inicyatorzy i członkowie komitetu oświaty ludowej, że wyręczyli ich poniekąd socyaliści przez wydawnictwo dla sfer robotniczych dwutygodnika „*Naprzód*", który obecnie wskutek zmiany w ustawie prasowej przemienił się na pismo tygodniowe. Jestto rzeczywiście bardzo ciekawe, a bardzo źle mówiące o energii i ofiarności stronnictwa tak zwanego konserwatywnego, że się dotychczas nie zdobyło na jakiekolwiekbądź pismo codzienne czy tygodniowe, przeznaczone dla klas pracujących. Wszak o tem szeroko mówiono i na wiecu katolickim, ale jak wszystkie uchwały tego wiecu, który był popisem tylko dla kilku osobistości, tak i ta sprawa poszła ad acta.

Sprawa „Lysistraty" jeszcze nie ustała, owszem jest nawet przyczyną bardzo charakterystycznego rozdwojenia w obozie konserwatywnym. Kiedy całe dziennikarstwo postępowe i umiarkowane wystąpiło przeciw bezczeszczeniu sceny polskiej, wówczas dziennikarstwu konserwatywnemu zdawało się (a raczej wmawiano w publiczność, że mu się zdawało,), iż nie idzie tu o „Lysistratę", lecz o jednego z feldmarszałków stronnictwa, p. Koźmiana. „*Czas*" zdobył się na *curiosum* nazywając obrońców moralności.... demagogami. W urzędowej „*Gazecie lwowskiej*" pojawił się artykuł sławiący „Lysistratę" i podpisany literą *E.* a ponieważ w ten sposób podpisuje się od lat 30-tu Dr. Karol Estreicher, który jest historykiem teatru polskiego i długoletnim członkiem komisyi przy teatrze krakowskim, przeto czytająca publiczność przekonaną była, iż Estreicher wystąpił w obronie „Lysistraty", co, rzecz prosta, obronie tej nadawało powagę i znaczenie. Pokazało się, że była to sztuczka, chęć okłamania publiczności, gdyż artykuł nie wyszedł bynajmniej z pod pióra Estreichera. „Czasowi" i „Gazecie lwowskiej" akompaniował „Przegląd lwowski". I kwestya skandalu teatralnego zaczęła zamieniać się w kwestyę walk zasad i stronnictw. Najzabawniejszem jednak było przyłączenie się do chóru pism konserwatywnych wstrętnej, obrzydliwej i wrogiej nam „Neue Freie Presse". Organ ten, nie zajmujący się nigdy polską literaturą i sztuką dramatyczną, uchylił głowy przed geniuszem p. Koźmiana i jak reklamował niedawno nędzną jego „Rzecz o roku 1863", tak teraz nie odmówił reklamy dla „Lysistraty". Tylko nie wymyślał już na demagogów, bo w „Neue Freie Presse" byłoby to śmiesznem, lecz na... Jezuitów. Kto zna sprawy zakulisowe, temu z łatwością przyszło zrozumieć, iż wszystkie reklamy dla „Lysistraty" pisane były na jednem i tem samem biurku. W obozie konserwatywnym wkrótce rozpoczęła się serya nieporozumień. Pierwszą wieść o niej przyniosło pismo humorystyczne „Zagłoba", w którem korespondent z Krakowa, (snać uczeń pana Koźmiana, bo przejął się na wskroś jego stylem i dowcipem) zawiadamiał, iż jakiś don Basilio gwałtownie intryguje przeciwko „Lysistracie" i to do tego stopnia, iż wpływał na „Przegląd polski", organ stańczyków, ażeby milczał o „Lysistracie". Ale wyraźny rozłam w obozie konserwatywnym ogłosił światu „Przegląd powszechny", miesięcznik wydawany przez OO. Jezuitów. Jest w nim artykuł ks. Morawskiego profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, w którym autor potępiwszy „Lysistratę", nazwawszy ją „wyuzdaną brzydotą", wystąpił ostro przeciwko dziennikarstwu konserwatywnemu, które *w interesie jednostki wypacza sumienie publiczne.* Może być, pisze ks. M., iż pomiędzy sprawozdawcami dzienników liberalnych byli i tacy, którym sprawiało przyjemność chłostać przeciwnika politycznego, ale to nie zmienia faktu, że potępiające artykuły gazet spotkały się tym razem z werdyktem zmysłu moralnego publiczności. Zrobiło się bardzo źle, wystawiając na scenie „Lysistratę", bo się sprawiło zgorszenie. Tylko *skokainowanie zmysłu moralnego* może tak wielki błąd wytłomaczyć. Obrona obłędu w prasie konserwatywnej jest nietylko zgorszeniem, ale *wykrzywieniem sumień.* Najgorzej i najniemądrzej byłoby dla partyi konserwatywnej, gdyby ten błąd *jednego* przy-

jęła jawnie czy milcząco. „*Tego jednego wobec opinii kraju już się nie zasłoni*“, a solidaryzowanie się z nim stronnictwa sciągnęłoby na partyę i na jej zasady „głębokie dusz odwrócenie“.

O ile wiem, nie ograniczy się na tem walka w łonie partyi konserwatywnej przeciw p. Koźmianowi, a kto wie czy nie pociągnie wyparcia się z nim wszelkiej, nietylko lysistratowej solidarności.

K. Bartoszewicz.

Odbieramy z prośbą o umieszczenie odezwę następującą:

Szkoła polska w Biały,

Towarzystwo „Szkoły ludowej,“ którego celem jest „wspierać szkołę ludową z językiem wykładowym polskim,“ ma obowiązek zwracać nietylko baczną uwagę na podnoszenie umysłowego poziomu w ludzie i szkólną oświatą rozpraszać mroki panującej ciemnoty, ale równocześnie w miarę sił chronić ludność polską od wynarodowienia i wzmacniać ją w fundamentach tam, gdzie ona przez obce, a wrogie żywioły jest zagrożoną. Tą myślą przewodnią kierując się, Zarząd główny Towarzystwa „Szkoły ludowej“ postanowił przystąpić w bieżącym roku do budowy siedmioklasowej polskiej szkoły wydziałowej w Biały.

Położenie tamecznej polskiej ludności jest nad wyraz smutne i groźne. W Galicyi, w mieście wzrosłem na polskiej ziemi, liczącem do 8000 mieszkańców — wstyd wyznać — tonie pod zalewem germanizmu ludność wobec zupełnego braku polskich zakładów naukowych, zmuszona jest posyłać dziatwę od najmłodszego wieku do szkół niemieckich, wychowywać ją i uczyć w obcym języku. W ten sposób młodzież polska na kresach staje się zupełnie obcą własnemu społeczeństwu, ginie dla narodu, ktorego ideałów, dążeń i potrzeb pojąć ani odczuć jej nie dano. Zgubna germanizacya szerzy niespostrzeżenie a szybko swe zagony na polskiej ziemi; potrzeba ratowania kresowych posterunków od narodowej zagłady staje się z dniem każdym pilniejszą; pomoc energiczna, rychła jest patryotycznym obowiązkiem pierwszorzędnej wagi.

Zarząd główny Towarzystwa „Szkoły ludowej“ poczynił już pierwsze, przedwstępne kroki i przed kilku dniami zakupił w Biały grunt nadający się pod szkołę. Bezzwłocznemu wszakże rozpoczęciu budowy staje na przeszkodzie brak środków, gdyż te fundusze, któremi Towarzystwo „Szkoły ludowej“ obecnie rozporządza, zaledwie w drobnej części przyczynić się mogą do pokrycia kosztów niezbędnych.

Szkoła polska w mieście, przy ktorem oprócz gminnych zakładów niemieckich istnieje i zwraca na siebie uwagę wspaniały, rzec można, gmach szkoły znanego z germanizacyjnych tendencyi „Schulvereinu,“ musi być również budynkiem, choćby skromnym i nie tak wspaniałym, ale porządnym, obszernym, wygodnym, odpowiadającym swemu przeznaczeniu. Koszta budowy, wraz z ceną gruntu wyniosą najmniej 50,000 złr.

Nie mogąc przeto własnemi siłami sprostać tak wielkim ciężarom, zwłaszcza w obecnej chwili, gdy Towarzystwo nasze zajęte jest równocześnie budową dwóch innych szkół w osadach polskich we wschodniej części kraju, zwracamy się do patryotycznego ogółu społeczeństwa z gorącą i usilną prośbą o czynne, skuteczne, ofiarne poparcie podjętej przez nas akcyi. Od tego poparcia zależeć będzie dalszy jej przebieg i rychłe urzeczywistnienie.

Jesteśmy głęboko przekonani, że w tym nowym roku, rozpoczynającym już drugi wiek niewoli narodu, społeczeństwo polskie nie zawiedzie nas w oczekiwaniach, żywimy silną wiarę, że ofiarność polska dla ratowania zagrożonych kresów zaznaczy się obficiej i potężniej niż kiedykolwiek, stwierdzając chlubnie żywotność szczytnego hasła: „Przez uświadomiony lud — do wolności narodu.“

Zarząd główny Towarzystwa „Szkoły ludowej“ w Krakowie.

Z estrady i sceny.

Pan Poseł. *Komedya w 3 aktach p. Abrahamowicza i Kliszewskiego.*

Literackie małżeństwo pp. Abrahamowicza i Ruszkowskiego wydało na świat sporą gromadkę dzieci, którym publiczność i krytyka nie szczędziły buziaków i cukierków. Potomstwo wesołego stadła nie odznaczało się wprawdzie ani potęgą ducha, ani wyjątkowem pięknem formy, ale miało czerwone, tłuste policzki, skakało zręcznie po scenie i rzechotało się na całe gardło, rzucając od czasu do czasu stare, ale dobre dowcipy. Niestety znudziło się literackiem małżeństwu wspólne pożycie, i nagle w sferach teatralnych zaczęto mówić o rozwodzie, któremu podobno ze strony rządu i kościoła żadnych nie stawiano trudności. Zawołali tedy pp. Abrahamowicz i Ruszkowski „Divorcons“, a pierwszy niebawem, zniechęcony przykrościami wdowiego stanu, w powtórne wstąpił śluby z p. Ign. Kliszewskim. W zwykłym terminie z nowego małżeństwa nowe narodziło się dziecię, któremu przy chrzcie dano imię „Pan Poseł“, a rodzice zaprezentowali latorośl swoją w ubiegłą sobotę na poznańskiej scenie.

Z tej pierwszej próbki trudno mi rozstrzygać stanowczo, czy rodzice „Pana Posła“ stanowią dobraną parę, ale porównując utwór świeżej spółki z krotochwilami dawnego stadła trudno się oprzeć wrażeniu pewnego rozczarowania. Pomysł „Pana Posła“ jest niewątpliwie szczęśliwym, bo stanowi obfitą skarbnicę sytuacyi, tryskających humorem, lub owianych tchnieniem lekkiej dramatyczności i satyry. Ta „wydajność“ pomysłu jest nieodzownym warunkiem dobrej sztuki scenicznej; bez niej trzyaktowa komedya jest zawsze rozwodnioną jednoaktówką, bez niej wkrada się na scenę balast wymuszonej „epizodyczności“, obniżającej wartość utworu i rozpraszającej uwagę słuchaczy. „An der Stange bleiben“ — oto recepta, o której przedewszystkiem literaccy dostawcy teatru pamiętać powinni, a pamiętać wtedy jedynie są w stanie, jeżeli pomysł odznacza się urodzajnością, jeżeli z niego naturalnym sposobem wyłania się akcya żywa, fabuła zajmująca i obfitość sytuacyjna.

Oprócz wartości pomysłu zaleca się utwór panów Abrahamowicza i Kliszewskiego plastyką typów, zstępujących wprawdzie w niziny karykatury, ale opartych na pierwowzorach rzeczywistych i modelowanych z wielką pewnością i brawurą. Już sam bohater komedyi — ów szlachcic galicyjski, owładnięty manią wielkości, aspirujący do tytułów hrabiowskich i teki ministeryalnej, rujnujący się finansowo dla mamideł chorobliwej ambicyi, a pozbawiony najelementarniejszych warunków na męża stanu, to postać, mimo farsowego zacięcia, żywa i prawdziwa. Ileż to takich Topolewskich krąży po Galicy, ileż wyciera kąty w ministeryalnych przedpokojach, lub drzemie na poselskich stołkach w wiedeńskim „Reichsracie“. Zresztą nie sięgajmy daleko. I w naszem poczciwem Księstwie typów podobnych nie braknie...

A przecież „Panu Posłowi“ długiego życia na scenie nie wróżę, bo na każdym kroku odczuwam, że cennego pomysłu nie rozprowadził zręczny technik *Ruszkowski.* Cóż po materyale wyborowym, jeżeli ręka niewprawna kieruje budową? Cóż po najlepszym planie struktury, jeżeli nie ma komu przeprowadzić go umiejętnie? Ruszkowski-architekt wycofał się ze spółki, a Kliszewski, — „druga żona“, — architektonicznych zdolności nie zdradza. W „Panu Pośle“ są sceny, porywające humorem, ale w wiązaniach rażą szwy grube, jakieś suwanie bezustanne, jakiś ambaras niesmaczny. Nadto w akcie III nie wyzyskała spółka literacka materyału, — snać po galopie pierwszych dwóch odsłon zbrakło oddechu autorom.

Artyści nasi, mimo przerażającej próżni w teatrze, dokładali wszelkich starań, aby sztukę uratować od zagłady, choć grać wobec pustki lodowej jest dla aktora prawdziwą męczarnią. Premiera, gromadząca w teatrze zaledwie 60 osób wraz z orkiestrą i recenzentami, chluby nie przynosi poznańskiej publiczności; trzyaktowe sztuki nie nęcą u nas; my zapłaciwszy bilet, pragniemy 15 odsłon, — cały „bukiet dramatyczny“.

Zdaje mi się jednak, że ta garstka premierowych bywalców, która w ubiegłą sobotę zgromadziła się w teatralnym przybytku, nie pożałowała wieczoru, bo lubo utwór sam nie zaleca się wybitniejszą wartością, to gra artystów zasługiwała na poklask najszczerszy. Pan *Trapszo,* strojący fizyonomję swoję i całą postawę w dyplomatyczną powagę, był niezrównanym przedstawicielem typu ambitnego głupca o podkładzie dobroduszności, a sekundował mu dzielnie słodziutki mąż-pantofel p. *Jakubowski.* Z przyjemnością zapisuję również prawdziwy tryumf p. p. *Łaskiego i Rapackiego* w roli samozwańczego barona i Grzymały. Pierwszy w ostatnich czasach pozbył się na szczęście fałszywych apetytów, które, mówiąc nawiasem, wzbudził w nim pewien „zły duch“ teatru naszego, i przerzuciwszy się z repertuaru bohaterskiego do ról charakterystycznych o podkładzie komicznym; składa coraz piękniejsze dowody wybitnego w tym kierunku uzdolnienia. Winszuję szczerze panu Łaskiemu tego szczęśliwego zwrotu, i przekonany jestem, że dzisiaj sam uznaje słuszność moich dawniejszych lekcyi i lamentów. Pan *Rapacki* w roli Grzymały nie pozostawił nic do życzenia. Z trafną charakterystyką zewnętrzną harmoniowały ruchy i dykcya, a humor artysty był tak szczery i tak dyskretny, że stał się prawdziwą ozdobą sobotniego wieczoru.

Z kobiet występujących w „Panu Pośle“ wyróżniały się grą poprawną panie *Trapszowa i Królikowska.* Gra panny *Trzcińskiej* zalecała się — piękną tualetą.

W. R.

Koncert pianisty Józefa Wieniawskiego

na sali Bazarowej dnia 1 Marca 1895 r.

Artysta grał w Poznaniu ostatni raz przed mniejwięcej 12 laty. W tym czasie usłyszeliśmy z estrady koncertowej nowsze siły muzyczne; z naszych pianistów wymienię tu tylko Paderewskiego i Śliwińskiego, z obcych zaś d'Alberta, Rosenthala i innych. W obec tych potentatów gry fortepianowej zajmuje dziś koncertant, mimo wielkiego artyzmu, pod niejednym względem stanowisko niższe. Wątpię nawet, czy p. W. kiedykolwiek jako wykonawca utworów klasycznych dorównywał np. d'Albertowi, czy posiadał fenomenalną technikę Rosenthala lub melodyjne uderzenie Sliwińskiego. Jako kompozytor napisał artysta i wydał wprawdzie kilkadziesiąt utworów, ale z tych zaledwie kilka mniejszych kompozycyi spotkać można od czasu do czasu na programach pianistów i kilka utworów utrzymało się tylko w repertuarze bieglejszych amatorów. Rozgłos swój wielki zawdzięcza artysta niezawodnie w pierwszej linji swemu bądź co bądź wybitnemu talentowi, choć w znacznej części

także urokowi, jakim nazwisko to starszy brat, sławny na świat cały skrzypek Henryk Wieniawski, opromienił. Sława pianisty datuje się od występów wspólnych z genialnym skrzypkiem, w których to koncertach — pianista na drugim stał planie.

Program piątkowego koncertu był bardzo urozmaicony, a rozpoczął się sonatą Beethowena d-moll op. 31 nr. 2. Mimo ślicznie wykonanych szczegółów, do których np. zaliczę Reccitativo con expressione I-ej części i prawie cały drugi ustęp „Adagio“, z głębokiem uczuciem odegrany, całość, nie wykazująca najmniejszych usterek technicznych pod względem stylu, dla braku jednolitości w przeprowadzeniu przewodniej myśli, nie zadowolniła znawców. Ostatni ustęp sonaty — Allegreto — i jako kompozycya najsłabszy, zagrany w zbyt przyspieszonem tempie, robił wprost wrażenie etiudy. Nie lepiej wypadły także Haendla waryacye ze suity d-moll, w którym utworze przebija się stary, zdrowy humor przybrany w kontrapunktyczne szaty. Odnaleźć ten jowialny, pogodny ton starego mistrza i oddać bez wszelkiej archeologicznej pedanteryi, to nie łatwe dla spółczesnych artystów zadanie. Chopina muza była reprezentowaną 4 utworami, mianowicie rzadko grywanem Impromptu Fis-dur op. 36, wspaniałą etiudę c-moll op. 25 nr. 12, cudnym nokturnem G-dur op. 37 nr. 2 i Scherzo cis-moll op. 39. Ostatni utwór wraz z etiudą c-moll najlepiej przypadł mi do gustu. Obie kompozycye obok własnych utworów koncertanta stanowiły kulminacyjny punkt całego popisu. Z Polonezów Moniuszki zainteresował mnie drugi des-dur więcej. Brak kontrastów i monotonny nieco akompaniament pierwszego polonezu nie zalecają tej kompozyi zdaniem mojem do koncertowego popisu. Za to utwory koncertanta: Mazurka-Reverie i wspaniałym tematem rozpoczynający się Polonez tryumfalny, jakkolwiek nie odznaczają się wielką oryginalnością, są jednak nadzwyczaj efektowne i wdzięcznie napisane, a wykonane z wielką bravurą i szczerem ciepłem olśniły na prawdę słuchaczy.

Na zakończenie wykonał artysta trochę zimno Parafrazę z Lohegrina Wagnera w opracowaniu Liszta i hiszpańską Rapsodyę Liszta. Ostatniego utworu mimo interesującego miejscami zużytkowania starego tańca narodowego „la Folia“, nie zaliczę do wybitnych kompozycyi wielkiego pianisty. W grze można było zauważyć nadto pewne znużenie i brak wyrazistego rytmu i ognia, co się również do podniesienia wartości utworu nie przyczyniło.

Edwin Jahnke.

NA WYŁOMIE.

(*Proces tarnopolski.*)

Marudziłem już tylokrotnie o dziwolągach poznańskich, że pozwolicie gawędziarzowi wyjątkowo przejechać się do — Tarnopola.

Na biurku mojem spoczywają olbrzymie arkusze zadrukowanego papieru, a na czele tłustemi czcionkami widnieją napisy: „Proces Tarnopolski.“ „Młodzież przed sądem“ i. t. p. W prasie poznańskiej zaległo głuche milczenie. Nikt nie wspomina o głośnej rozprawie, lubo z ust prokuratora i świadków płyną interesujące powieści o komersie w szkole Staszyca i wielkopolskiej młodzieży, odwiedzającej wystawę. Lecz jak widzę, zaczynam od końca, a wy, przyzwyczajeni do pruskiej systematyczności, pragniecie wiedzieć początek.

Słuchajcie zatem! Było sobie w Tarnopolu grono młodych entuzyastów, uczęszczających bądź to do gimnazyum, bądź też do seminaryum nauczycielskiego. Serca paliły się wielkim płomieniem miłości ludu i ojczyzny, fantazya snuła barwne marzenia o Polsce wolnej i demokratycznej, dusza upojona hasłami postępu wołała: „Światła i chleba dla wydziedziczonych!“ Garstka młodych zapaleńców skupiała się tedy po za murami szkolnemi, czytała wspólnie ustępy z historyi i literatury polskiej, abonowała za oszczędzone obole pismo akademickie „Życie“, zaglądała też do socyalistycznych organów i broszurek, a nie wyćwiczona w gimnastyce dyplomacyi, rzucała nieraz głośno i otwarcie fajerwerki patryotyczne. Krzykliwego patryotyzmu i demokracyi głośnej rząd austryacki nie lubi, — ale któż z nas w 18-tym roku życia umiał milczeć, gdy „Lud i ojczyzna“ upajały nam dusze i skrzydła przypinały sokole. Młodzież tarnopolska marzyła tedy o tem wszystkiem, o czem każdy duch gorętszy roi w prymanerskich latach, a ponieważ student-polityk jest przedewszystkiem romantykiem, więc lubowano się w tajemniczości, założono podobno kółko zamknięte, rozszerzano jakieś odczyty „ostro-patryotyczne“ i zaprowadzono nawet statuty, które według aktu oskarżenia zalecały „dążenia do odbudowania Polski.“ I byłoby wszystko w porządku, gdyby... gdyby nie ksiądz *Librewski*, przełożony seminaryum nauczycielskiego.

Wśród młodych społeczników znajdował się niejaki *Rzepa*, który odznaczał się wielką pobożnością, a spowiedź pojmował na wzór chłopaka wiejskiego, który przy konfesyonale opowiada szeptem, gdzie trznadel gniazdo sobie usłał. Uklęknął pobożny „konspirator“ i wśród długiej litanii grzechów wymienił udział swój w „tajnem stowarzyszeniu“, scharakteryzował jego działalność i wyśpiewał nazwiska członków. Ks. Librewski słuchał ciekawie tak interesujących zwierzeń i zatrwożony do szpiku kości o byt państwa austryackiego, „rozkazał Rzepie powtórzyć spowiedź po za konfesyonałem.“ Penitent biedny zdecydował się usłuchać kapłana, ale żądał od niego słowa honoru, że z informacyi użytku nie zrobi. „Ks. Librewski dał słowo, ale nie dał honoru.“

W ten sposób istnienie tajnego kółka doszło do wiadomości władz szkolnych i policyjnych. Zarządzono śledztwo, odbyto rewizye i odkrywszy szczątki statutów, broszury demokratyczne, jakieś programy narodowo-postępowe i t. p., okropne okropności powołano 26 młodzików na ławę oskarżonych przed sąd przysięgłych. Lotem błyskawicy wieść sensacyjna obiegła prasę europejską. Niemieckie dzienniki opowiadały straszliwe historye o polskich anarchistach; czeskie czasopisma śpiewały ponurym głosem o galicyjskiej „Irredenćie“, a prokurator smarował akt oskarżenia na 72 stronnicach. Gwałtu! ratujcie! Austrya na wulkanie.

Gdyby istotnie tenor oskarżenia był właściwą sygnaturą winowajców, możnaby mniemać, że szkoły Tarnopolskie były siedliskiem zgrai Ravacholów. Dwunastu gimnazyastom i seminarzystom zarzuca prokurator „zdradę stanu“, twierdząc, „że w latach 1892, 1893 i 94 złączywszy się z innymi w związek tajny, mający na celu — za pomocą opozycyi, dyskredytowania i ośmieszania rządu, pobudzania do oporu przeciw temuż, nie wyrzekając się zbrojnego powstania — odzyskanie dla narodu polskiego niepodległości bytu państwowego, przedsięwzięli działanie, skierowane na oderwanie Galicyi od jednolitego związku państwowego cesarstwa austryackiego.“

Inni znów zasiedli na ławie oskarżonych pod zarzutem obrazy majestatu i zakłócenia spokoju publicznego, a prokurator z naciskiem odwołuje się na ów słynny komers w szkole Staszyca, urządzony na cześć poznańskiej młodzieży. Tam część podsądnych „starała się rozbudzić nienawiść przeciw osobie cesarza i przeciw administracyi państwowej“, — tam do tego stopnia oburzyła i zaniepokoiła uczestników komersu, że „**młodzi Poznańczycy rzewnie płakali.**“

Nie! ci Poznańczycy, lejący łzy oburzenia nad mowami kilku egzaltowanych patryotów, to musiało być istotnie czarujące zjawisko!

Być może, że te łzy właśnie tak rozczuliły prokuratora, że garść młodych, nierozważnych entuzyastów przedstawił sędziom jako bandę zbrodniarzy, czyhających na zagładę tronu i całej monarchii. Zdaje się jednak, że proces Tarnopolski zakończy się świetną rehabilitacyą młodzieży, a kompromitacyą tych, którzy w każdym frazesie goręτszym wietrzą rewolucyą, w każdym krzewicielu oświaty ludowej — socyalistę. Z zeznań świadków, i oskarżonych wyłania się ta groźna „zdrada stanu, obraza majestatu i zakłócenie spokoju publicznego“ w zabarwieniu dziwnem — coś niby zabawka polityczna, niby bukiet romantycznych kwiatków, niby junacka brawura.

Ale cała ta kolizya z prawem, która młodzież tarnopolską zawiodła na ławę oskarżonych, wyrasta na gruncie wielkiej miłości ojczyzny, niezmordowanej pracy dla społeczeństwa i poświęcenia dla ideałów swoich. Zapaleni doktrynerzy w chwilach wolnych od nauki szkolnej nie szukają bilardów i pensyonarek, lecz wsłuchują się uważnie w gwary społecznego życia, niosą między lud kagańce oświaty i pochodnie patryotyzmu, marzą, kochają i nienawidzą. Że z takiego podkładu wyrosły dziecinne wybryki, że tam ktoś w towarzystwie kolegów wygrażał portretowi cesarza, lub w krasomówczym zapale na wielkiem święcie młodzieży krytykował orgje lojalizmu i demoralizacyę rządową, to w rubryce Donkiszoteryi chłopięcych nadzwyczajnością nie jest bynajmniej, a cały ten aparat sędziów przysięgłych z prokuratorem, sześciu adwokatatami, prezydentem, całym legjonem świadków, robi istotnie wrażenie polowania na wróble armatami. Statuty słynne z programem niepodległej Polski, ukute rzekomo przez garść gimnazistów, — straszne praktyki rewolucyjne, polegające na teoretycznych dyskusyach, czytaniu pism postępowych i samokształceniu w historyi i literaturze ojczystej — to chyba tylko prokurator austryacki lub rosyjski żandarm piętnować może jako zdradę stanu. „Lieb Vaterland magst ruhig sein“.

Młode głowy szalone, młode serca zapalne i zabawa w politycznego — palanta! Mój Boże! ileż to wspomnień ciśnie się do głowy. Spytajcie starszej generacyi poznańskiej i niechaj wam opowie dzieje dawnej polityki gimnazyalnej, tych czerwonych demokratów, tych rewolucyonistów, „petrolejarzy“, komunistów itd. Ileż to herezyi wygadywano na zebraniach, posiedzeniach i kółkach, — ot! zwyczajnie młodość szumiała jak szlachetny szampan. W Austryi szum taki zwie się „zdradą stanu“, a ksiądz Librowski ratuje zagrożoną ojczyznę.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

J. S. Zubrzycki. Rozwój gotycyzmu w Polsce pod względem konstrukcyjnym i estetycznym. Kraków, nakładem autora 1895, 8-o., str. 39 z 3 tablicami.

Książka z dziedziny architektury to osobliwość w piśmiennictwie naszem, gdyż nawet z takiego ogniska wiedzy technicznej, jak Lwów, nie wiele się rozchodzi corocznie na świat. Obydwa techniczne czasopisma galicyjskie, wychodzące jako organa odnośnych towarzystw w Lwowie i Krakowie, nie dają należytego i pełnego pojęcia ani o ruchu wielkim, jaki w Galicyi pomiędzy architektami i inżynierami panuje, ani o dziełach znakomitych, przez nich dość często wykonywanych, jakie z okoliczności wystawy lwowskiej we większych miastach galicyjskich poznać mieliśmy sposobność. Z tem większem zaciekawieniem przeczytaliśmy tę publikacyę.

Autor, architekt cywilny i dotychczasowy inspektor budownictwa miejskiego w Krakowie, znany z wzorowo wykonanych i przygotowanych do druku zdjęć budynków dawnych miasta Krakowa, publikował już zeszłego roku

samodzielnie obmyślone dzieło p. t. „Filozofia architektury“, które z powodu zbyt zawiłych definicyi i nie zbyt jasnych wywodów przez krytykę zawodową nieprzychylnie zostało przyjęte. Rzecz obecną wygłosił jako wykład habilitacyjny w c. k. szkołę politechnicznej we Lwowie, do której został już zaproponowany na docenta historyi architektury. W wykładzie jasnym i potoczystym daje autor dobre zestawienie znanych po części rzeczy, objaśniając je wszakże trafnemi poglądami własnemi; zwraca bardzo słusznie szczególniejszą uwagę na właściwości naszego gotyzmu, na motywa swojskie, stojące w ścisłym związku z wielkiem zamiłowaniem przodków naszych do drzewa i ozdobnej ciesiołki; daje pogląd, dla czego u nas styl gotycki rozwinął się dopiero na końcu XIII wieku, t. j. o wiek cały później jak w innych krajach i utrzymując się przez wiek jeden w stanie kwitnącym, „zużył się prędko jako styl wybujały, znikając równocześnie pod blaskiem renesansu.“

Twierdzeń postawionych dowodzi autor najwięcej na znanych mu zblizka zabytkach budownictwa krakowskiego, objaśniając je dokładnemi zdjęciami 4 różnych filarów z naw głównych kościołów krakowskich, — ale nie pomija też najbliższego naszej dzielnicy odcienia ostrołukowego, nazywanego bądź krzyżackim, bądź wiślano-bałtyckim, polegającego na rozległem zastosowaniu do budowy wyrobów ceglanych. Autor windykuje dla tego odcienia z powodu różnych właściwości swojskich i rodzinnych miano odcienia nadwiślanskiego; zdaniem jego „punkt ciężkości ostrołuku nad Wisłą przypada na Kraków.“ Koniec wykładu poświęca autor głównie szkole krakowskiej i jej właściwościom, wykazując na nich wpływ Pragi i Norymbergii. Nie tu miejsce do zapuszczania się w zadaleko sięgające szczegóły starannie i ze znajomością rzeczy opracowanej a gładkim stylem napisanej broszury. Odsyłamy do niej ciekawych i żądnych zapoznania się z właściwościami naszych zabytków przeszłości w tem przekonaniu, iż czasu poświęconego na jej przeczytanie nie pożałują. *J. R.*

* * *

Jan Kazimierz Zieliński. — „Szkice“ — (Anima. — W Japonii. — Eden. — Na konkurs. — Tenor. — Numer 13.) — Lwów. Jakubowski i Zadurowicz. 1895.

Jest to wiązanka drobnych obrazków i nowelli, kreślonych z niezaprzeczonym talentem i wprawą pisarską, językiem czystym, stylem dobrym, a niekiedy nawet wytwornym. Zbiór rozpoczyna się obrazkiem „Anima“, pełnym wdzięku. Zaraz potem spotykamy się ze szkicem „W Japonii“, zgrabnie ujętym w egzotyczną formę i świeżym w pomyśle. Trzeci, noszący nazwę „Eden“, jest historyą pogoni młodego człowieka ze szczęściem i rozkoszą. Nie znajduje ich bohater opowiadania, ani w uciechach zmysłowych, ani w sztuce, lecz w poczuciu i spełnieniu obowiązków społecznych. Po tej poważnej nucie, autor w monologu „Na konkurs“ nastraja się na ton satyryczny, aby znowu w następnej nowelli, „Tenor“, przejść do dźwięków smutnych. Szczęściem, zajmująca książka kończy się wybuchem szczerej wesołości, zatytułowanej „Numer 13“. Ograny temat, w nowem opracowaniu i istotnie zabawnej formie, przedstawia się świeżo, zajmująco, ujmująco. Słowem całość zbioru liczyć może na szerokie koła życzliwie dla młodego autora usposobionych czytelników.

* * *

„Kwartalnik historyczny“. Zeszyt I. 1895. Omawiany zeszyt „Kwartalnika“ rozpoczyna praca p. Iwana Franki p. t. „Z dziejów synodu brzeskiego 1596 r.“, synodu, który sankcjonował unję jednej części duchowieństwa ruskiego z Rzymem. „Zawarta — pisze autor — z pobudek daleko bardziej politycznych i administracyjno - dyscyplinarnych, niż dogmatyczno religijnych, unja brzeska wniosła odrazu ogromny ferment w łono narodu ruskiego, spowodowała chwilowe wrzenie, ożywienie, ruch umysłowy, żwawe dysputy, wywołała z jednej i drugiej strony gorący zelotyzm i spłodziła nadzwyczaj zajmującą literaturę polemiczną, lecz w rezultacie osłabiła Ruś, zdemoralizowała ją przez nienawiść braci ku braciom, przez wzajemną nieufność i nietolerancję i była jednym z powodów wojen kozackich, ktore przyniosły dla ukrainy ruinę, a dla Polski zaród upadku politycznego. Ale znaczenie i wpływ unji brzeskiej nie skończyły się z upadkiem Polski. Przeciwnie, od końca XVIII. wieku, w tej części Rusi, która przeszła pod berło Rosyi, zaczyna się prawdziwa tragedya unii, z niezliczonemi epizodami, pełnemi łez i krwi, tragedya, dotychczas jeszcze nie ukończona“.

Zaznaczając, że zbliżająca się trzechsetna rocznica tej unii powinnaby dać pohop do gruntownego opracowania jej dziejów, co musiałoby zostać poprzedzone krytycznem opracowaniem odnośnych źródeł, autor przedsięwziął w omawianym artykule jedną z takich prac przedwstępnych, a mianowicie poddaje rozbiorowi krytycznemu dziełko p. t. „Perestroha zìło potrebnaja na potomnyje czasy prawosławnym chrestianam“.

P. Prochaska zdaje sprawę w obszernym artykule z pracy rosyjskiego historyka Linniczenki, dotyczącej wewnętrznych stosunków Rusi w XV. w.

Resztę zeszytu wypełniają miscellanea i zwykłe działy sprawozdawcze, a w nich podnieść należy odprawę, daną przez E. Porębowicza pracy M. Kawczyńskiego o trzeciej części „Dziadów“ Mickiewicza i jej stosunku do romantyzmu francuskiego, uwydatniającej wyraźnie krakowsko-policyjne kryteryum krytyczne Kawczyńskiego.

* * *

Ignacy Prądzyński. Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko-rosyjskiej 1831 r. Kraków, nakładem Grendyszyńskiego. 1894, str. 289.

Pamiętnik ten został napisany na żądanie cara Mikołaja. Autor przystąpił do napisania jego zaraz po wojnie, opierając się na własnej pamięci i korzystając z materyałów dostarczonych mu w Petersburgu. Ukończył swą pracę w Gatczynie w sierpniu 1832. Rękopis znajduje się w archiwum wojenno-uczonej komisyi głównego sztabu w Petersburgu. Korzystał z niego naprzód Schmidt, a potem generał Puzyrewski w swojej historyi wojny 1831 roku, który też wydał go w całości w drugim tomie swego dzieła. Prądzyński był uważany zawsze za jednego z najwięcej wykształconych i najwięcej utalentowanych dowódzców. Obcy historycy wojny Willisen i Schmidt stawiają go pod względem zdolności na czele wszystkich ówczesnych generałów. Puzyrewski przyznaje mu umysł twórczy, oraz świetność i smiałość często genialnych kombinacyj strategicznych. To samo już uzasadniało potrzebę wydania jego pamiętnika. Prądzyński ogranicza się głównie do zdania sprawy z wypadków, w których albo sam przyjmował udział, albo o których był powiadomiony mniej więcej dokladnie. O wypadkach poprzedzających rewolucyę prawie nie wspomina: podczas wybuchu znajdował się w Augustowie. Pamiętnik zawiera przedewszystkiem dużo faktycznego materyału o ruchach strategicznych obu armii. Szczegółowo też opisuje Prądzyński ostatnie chwile wypadków a mianowicie układy tyczące się poddania Warszawy. Naturalnie historyk nie może się zgodzić ze wszystkiemi wywodami i zapatrywaniami autora, który jako współdziałający w wypadkach nie mógł wznieść sie na stanowisko całkiem bezstronne a pisząc pod świeżem wrażeniem i oparty na niedostatecznym materyale, nie znał wiele przyczyn i wiele szczegółów później dopiero wyjaśnionych. W każdym razie pamiętnik pozostanie jednem z najważniejszych źródeł do dziejów 1831 r.

K. Bart.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** Poseł nasz ks. prałat dr. Jażdżewski zwrócił w komisyi budżetowej uwagę sekretarza spraw zagranicznych na potrzebę ułatwień w stosunkach granicznych pomiędzy Królestwem polskiem a wschodniemi prowincyami pruskiemi. Sekretarz na propozycyę posła naszego odpowiedział przychylnie. — O ile wnioskować można z repliki ministra robót publicznych na interpelacyę posła Jaeckela w sprawie ogroblenia Warty, to żaden z przedłożonych projektów nie uzyskał aprobaty rządowej. — Naczelny prezes Prus Wschodnich, hr. Stolberg podał się do dymisyi. Dymisyonowany dygnitarz ściągnął podobno na siebie gniew monarszy w skutek sympatyi okazywanych frondującemu „związkowi rólników“.

Statystyka samobójstw w Wiedniu wykazuje, że w r. 1892 było samobójstw 330, w r. 1893 356, a w ubiegłym roku 389, i to: powiesiło się 107 mężczyzn a 17 kobiet, palną bronią zadało sobie śmierć 84 mężczyzn i 8 kobiet, utopiło się 55 m. i 22 k., otruło się 21 m. i 28 k, 10 m. i 16 k. zginęło rzucając się z wysokości, poderżnęło się 8 m. i 2 k., 2 rzuciło się pod koła lokomotywy. Najstarszy samobójca liczył 85, najmłodszy 9 lat, inni 13 i 13 i pół. Przyczyną samobójstw była najczęściej słabość, złe stosunki majątkowe, brak pracy, nędza, obłęd, zawiedziona miłość, obraza honoru. Uderzającą jest także ta okoliczność, że w pierwszych miesiącach roku więcej było samobójstw jak w ostatnich.

— **Teatr i muzyka.** W ubiegły czwartek wystawiono w teatrze poznańskim na benefis p. Królikowskiego sceniczną przeróbkę powieści Balzaka p. t. „Macocha“. Beneficyantowi ofiarowała licznie zgromadzona publiczność piękny wieniec, darząc go nadto grzmiącemi oklaskami za grę prawdziwie artystyczną. — W poniedziałek 11 marca odbędzie się na sali hotelu berlińskiego wieczór humorystyczny pana Kicińskiego. Biletów nabyć można w cukierni p. Hyżewicza. — Pani Adolfina Zimajer urządza 18 bm. na sali Bazarowej koncert z współudziałem p. A. Zawadzkiego, znanego monologisty. Przedtem wystąpi słynna artystka wraz z partnerem swoim w Gnieźnie. — W Poznaniu gości obecnie Budapeszteński „Possen Theater“. Teatr ten posiada kilku znakomitych komików. — Konkurs dramatyczny, ogłoszony przez wydział galicyjski, rozstrzygnięto obecnie we Lwowie. Pierwszą nagrodę otrzymał p. Michał Wołowski za 3 aktową komedyą p. t. „Towarzysz pancerny“; drugą słuchacz uniwersytetu krakowskiego p. Wacław Sawiczewski za dramat p. t. „Na bezdrożach“. Do grania zalecono sztukę Henryka Piątkowskiego p. t. „Nowi ludzie“, 5 aktowy dramat Wandy Dalewskiej p. t. „Las“, dramat Bronisława Grabowskiego p. t. Jadwiga Tarłówna“, oraz fantazyą Jana Szarskiego (pseudonim) p t „Uśpiona“. — Powieść Sienkiewicza p. t. „Hania“ przerobił na utwór dramatyczny artysta warszawski p. Józef Mikulski. — Łotyskiej literaturze dramatycznej przysporzyła utalentowana autorka „Aspazya“ dwa nowe utwory p. t. „Utracone prawo“ i „Wajdelota“. — Artysta warszawski, Mieczysław Frenkel bawił na gościnnych występach w Łodzi. — Komedya Kościelskiego „Na klęczkach“ ujrzy niebawem światło kinkietów w teatrze krakowskim.

— **Znany literat poznański** p. Kaźmierz Puffke wygłosi niebawem na sali hotelu Victoria odczyt „O kobiecie w dramacie współczesnym“.

Zmarli:

Ks. Konstanty Damroth, znany pod pseudonimem Czesława Lubińskiego, zmarł w Pilchowicach 5 marca.

Dr. Franciszek Lauth, egiptolog, zm. w Monachium w końcu lutego.

Odpowiedzi Redakcyi.

St. Do najlepszych dzieł mitologicznych w literaturze niemieckiej należą: 1) H. Göll. Illustrirte Mythologie, Göttersagen und Kultusformen der Hellenen, Römer, Aegypter, Inder, Perser und Germanen. 5. Aufl. Verlag O. Spahn. Leipzig. Cena 5 mr. 2) Fr. Kurts. Allgemeine Mythologie. 2. Auflage. Verlag Weigel Nachf. Leipzig. Cena 8 mr.

99. „Marzenie“ poszło marzyć do kosza.

Sprostowanie

Do nr. 9 wkradła się omyłka następująca: W artykule p. t Henryk Rochefort na stronicy 100 w łamie 2, wierszu 18 od dołu czytać należy zamiast „walki“ — „uwagi“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 11. Poznań, Niedziela 17go Marca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Dokąd idziemy?

I.

Ile razy przebiegam myślą dzieje ostatnich czasów naszego społeczeństwa, echa walki rasowej z przemożnym żywiołem germańskim, szczerby, jakie czas wśród naszych warstw kierujących poczynił i ruch wśród żywiołów nowszych, dotąd w cieniu trzymanych, a dzisiaj prących do steru, — i rozpamiętuję wszystko, co na przestrzeni ostatnich dziesiątków lat zdziałaliśmy — i do czego na próżno wyciągaliśmy ręce — nie mogę oprzeć się uczuciu, że społeczeństwo nasze w rdzennych objawach swego życia narodowego poniekąd osłabło. Uważam zaś za rdzenne objawy życia narodowego: ruch umysłowy, zdobycze na polu naukowych badań i sztuki, jasność w programie politycznym i pewną jednolitość i godność w postępowaniu, gdziekolwiek przedstawicielom społeczeństwa wypadnie reprezentować je publicznie, czy to wśród toku naszych spraw wewnętrznych, czy też na zewnątrz. — I mówi mi głos wewnętrzny, że osłabliśmy nietylko dla tego, że smutny szereg cyfr, wykazujący rokrocznie zmniejszanie się materyalnej podstawy życia narodowego — posiadłości ziemskiej — stanowi zarazem dowód obniżania się siły przodującej warstwy — nietylko dla tego, że ci, co wyłom zrobiony w przyszłości zapełnić mają, pierwsze dopiero i to nie zawsze szczęśliwe kroki na arenie politycznej stawiają — ale, że niemoc obecna i owa bezradność, tak w naszych sprawach wewnętrznych jak wobec zewnętrznego nacisku politycznego, każąca nam bez dostatecznej przyczyny przerzucać się z jednej ostateczności w drugą, zamiast zdążać po wytkniętej drodze ku jasno określonym celom, inne jeszcze, głębsze musi przyczyny. I razem z owem beznadziejnem uczuciem społecznej dekadencyi naszej, staje przedemną przygniatające pytanie: dokąd my dążymy?

Jeżeli tam, gdzie nieprzyjaciel wali taranem w ostatni mur forteczny, by przez szczerby zrobione wtargnąć do twierdzy, przezorność nakazuje skupić siły w jednem zagrożonem miejscu, choćby nawet przyszło na chwilę odsłonić inne mniej narażone części, — to nie podobna i wśród walki politycznej nie uznać tego sposobu obrony, chociaż zapomnieć nie wolno, że tutaj odsłoniętym częściom nierówno większe grożą niebezpieczeństwa. Kiedy za czasów walki kulturnej uderzono w uczucia religijne naszego społeczeństwa, — wykonali przywódzcy nasi ów manewr, ratujący najbardziej wówczas zagrożony kościół — i narodowość zeszła na plan drugi. A poświęcono ją tak dobrze, że dzisiaj, kiedy stosunki dawno już odmienny przybrały kierunek, zawsze ona jeszcze stoi na drugim planie i napróżno o przynależne jej stanowisko kołace

Naprzeciw nam stał człowiek, który zęby zjadł na sztukach i sztuczkach dyplomatycznych, bezwzględnością i siłą usuwał, co mu stanęło na drodze, i zrobił naród swój woskiem podatnym w swem ręku, — i cóż dziwnego, że w walce z takim przeciwnikiem, przebijało w naszych manewrach coś z chwiejnych ruchów niedorostka, występującego pierwszy raz w ciężkiej zbroi na arenę turnieju do walki. Po stronie przeciwnej był każdy ruch ściśle obliczony, doniosłość każdego ciosu odmierzoną, — i to nadawało jej ową swobodę poruszeń, dozwalającą jeszcze na wypadek przegranej wycofać się w porządku. My, którzy w owej walce, nie ze wszystkiem własną zasługą, odnieśliśmy względne zwycięstwo, zapędziliśmy się za daleko za cofającym się w porządku nieprzyjacielem i pędzimy ciągle jeszcze siłą bezwładności w raz obranym kierunku. Nie mieliśmy wówczas człowieka, któryby umiał ogarnąć umysłem całokształt położenia politycznego i wszelkich ewentualności walki i pokierować sprawą obrony tak, aby na wszelkie wypadki zachować nici w swem ręką. Kler pochwycił ster naszych spraw społecznych, a przekonawszy rząd pruski, że gotów do pewnych ustępstw na polu narodowem, uzyskał wkrótce i stolicę arcybiskupią.

Nie trzeba się łudzić co do zamysłów rządu pruskiego wobec nas; to, co naiwni i nie tylko naiwni pośród nas, nazywali nowym kursem, każąc nam cieszyć się z rzekomych ustępstw — było tylko nowym etapem walki. Ponieważ nie udało się zachwiać nas w uczuciach narodowych, uderzając w naszą religię, postanowiono dążyć do celu tego za pomocą naszej religii. Pierwszy eksperyment rządowy nie udał się stanowczo, — znajdujemy się obecnie w epoce drugiej próby, której dzieje nie zamknięte jeszcze.

Kto z takiego stanowiska spojrzy na to, co u nas obecnie się dzieje, znajdzie klucz do zrozumienia niejednego faktu zkądinąd trudnego do wytłomaczenia.

Owa przebiegła dążność rządu pruskiego, nie kryjąca się z zamiarem użycia do walki z naszą narodowością pewnego odłamu naszego własnego społeczeństwa, wywołała oczywiście wielką trudność położenia. Wielkiego taktu i zręczności trzeba było ze strony kierowników naszego kościoła, którzy i na nasze społeczne sprawy przeważny wpływ rozpościerają, aby tam, gdzie stosunki jako obywatelom wystąpić im każą, nie zadrasnąć uczuć narodowych swego społeczeństwa. Spodziewaliśmy się po naszych kierownikach, że przy sprawowaniu czynności obywatelskich zachowają ten takt polityczny, i że tam, gdzie zbyteczne wysuwanie narodowej strony narażałoby ich zkądinąd wysoko odpowiedzialne stanowisko, będą umieli powstrzymać się od działalności. I milczenie bywa niekiedy czynem. — Niestety, znany interwiew w sprawie śląskiej zatrwożył nas nieco. Śląsk, prastara dzielnica Piastów, przez długie wieki wystawiona na zalew germański, zamierała powoli narodowo. Zatracili obyczaj i język swojski książęta panujący, rycerstwo, duchowieństwo — pozostał lud. Fala germańska podmywała powoli i tę ostatnią twierdzę narodową i nadszedł smutny czas, kiedy na ziemi polskiej mówić rodowitym językiem stało się — zakałą. I oto po wiekach letargu budzi się głęboko uśpione uczucie narodowe i na Śląsku poczyna wpół zamarła polskość powracać do życia i coraz szerszą falą się rozlewać. I ten jedyny w swoim rodzaju ruch, zwiastujący odrodzenie i świadczący o niespożytej sile naszego plemienia, rokujący nadzieje lepszej przyszłości — znalazł pomiędzy nami u osobistości wysoko postawionej i wpływowej wyrazy publicznego potępienia! Jakkolwiek ogólnikowe i polowiczne sprostowanie osłabiło bezwzględność pierwszej wersyi, był to jednak fakt, ktory musiał w wysokim stopniu zaniepokoić szerokie koła naszego społeczeństwa. Ponawiające się ciągle głosy pewnej części prasy, przemawiające za bezwzględną lojalnością wobec rządu — powtarzane obietnice ulg, które się nigdy nie spełniały — wieści o pośrednim i bezpośrednim wpływie władzy duchownej na wspomniane organa prasy — wzmagały niepokój i bezradność. — I coraz wyraźniej wskazywały różnorodne głosy i objawy, że między tymi, co stoją u steru a społeczeństwem nie ma porozumienia, lecz coraz większa rozwiera się przepaść i głuchy opór się wzmaga.

I oto mamy rozwiązanie zagadki, dla czego u nas obecnie panuje taki zamęt w przekonaniach politycznych i społecznych, dla czego mimo, że rozrastamy się liczebnie i świadomość polityczna coraz szersze koła ogarnia — nie posuwamy się naprzód. Społeczeństwo nasze

obraca się w zaklętem kole dawno przeżytych haseł i nie zdobyło się na żadną nową, duchowi czasu odpowiednią, przewodnią ideę.

„Kuryerowi Poznańskiemu“, organowi naszego duchowieństwa przypadła niewdzięczna rola przodownictwa w polityce antynarodowej, i trzeba przyznać, że spełnia on swoje smutne posłannictwo z niemałem powodzeniem i właściwą sobie taktyką. Nie było myśli narodowej w ostatnich czasach, którejby nie zbezcześcił, nie było przeciwnika, któregoby nie oplwał, nie było idei postępowej, którejby nie ostrzelał ze swych haubic ciemności! Kłamstwo, obłuda, paszkwil, poziome insynuacye i karczemne wyzwiska — to jego broń, godna celów, ku jakim zdąża. Wobec tej służalczej polityki „Kuryera“ okazywało społeczeństwo nasze dziwną pobłażliwość, tu i owdzie napiętnowano jakiś wyskok serwilizmu, tu i owdzie odparto z oburzeniem jakąś napaść brutalną, nie kusząc się o scharakteryzowanie całości i stawienie pod pręgierz kierunku. Na wskroś religijne społeczeństwo nasze lękało się dojrzeć po za nominalnemi redaktorami i opiekunami „Kuryera“ wpływy wyższych dostojników kościoła, a nie mając pewności, co należy kłaść na karb prądu, wiejącego z góry, co zaś przypisać specyficznym zamiłowaniom „Kuryera“ — milczało. W samą porę przyszła wobec takiego stanu rzeczy deklaracya ks. arcybiskupa Stablewskiego, wypierająca się wszelkiej wspólności z podziemną robotą Kuryera i oddająca mu niepodzielnie cały zaszczyt po piórze.

Kto dał „Kuryerowi“ prawo narzucać społeczeństwu politykę wstrętną mu i obcą? Zkąd wziął śmiałość marne płody swej pełzającej wyobraźni podawać jako owoc przekonań, choćby tylko znaczniejszego odłamu społeczeństwa?

Wobec rządu pruskiego odgrywają politycy Kuryerowi rolę co najmniej komiczną. Rząd pruski chce naszego wynarodowienia i kpi sobie z lojalnych darów „Kuryera“. A jednak większem niebezpieczeństwem grożą społeczeństwu takie objawy zwyrodnienia najpotężniejszego z instynktów, bo instynktu samozachowawczego, i zakusy pociągnięcia zdrowego ogółu na pochyłość własnego poziomu, niż niedwuznaczne zamiary rządu i — może szkodliwe — ale przynajmniej otwarte rzucenie rękawicy panów Kennemannów i jak się tam jeszcze nazywać mogą.

Ostatnie dzieje nasze dowodzą, że utrata niepodległości nie jest jeszcze śmiercią narodu. Katastrofa polityczna na schyłku przeszłego wieku nie zakończyła tych krwawych i bezkrwawych zapasów z żywiołem germańskim, jakie od lat tysiąca ze zmiennem szczęściem prowadzimy. Stawać do walki z siłami nie dorównywającemi potędze nieprzyjacielskiej jest nieszczęściem, — nie wyzyskać wszystkich czynników, zdolnych do podniesienia sił własnych i sprowadzić tym sposobem klęskę — jest winą — ale deptać własnemi nogami godność narodową ku zgorszeniu współczesnych — na wstyd potomnych — to sromotne. *St.*



Lombroso o Crispim.

(Kartka z dziejów megalomanii politycznej.)

Przed niedawnym czasem Cezar Lombroso ogłosił rozprawkę o politycznym obłędzie wielkości, w której szorstko, ale sprawiedliwie zaczepił jedno ze sztucznych, a tak dla jego ojczyzny szkodliwych bożyszcz Europy — Crispiego. Nie spodziewał się zapewne przezacny uczony, iż wkrótce, sposobem ile można najbardziej stanowczym, stwierdzony zostanie na tej ministeryalnej postaci fakt związku między polityką a... psychiatryą.

„Żeby ten wyszedł — mówił wtedy Lombroso — ktoby kilka lat temu między polityką, socyologią lub krytyką sztuki, a nauką o obłędzie, dopatrywał jakiegokolwiek związku. Uważanoby to za przejaw uprzedzenia specyalisty, który, mając swą naukę wbitą w mózgownicę, z tego stanowiska zapatruje się na wszelkie przejawy społecznego życia. Obecnie jednak osądził rozum czasu te uprzedzenia i stwierdził, że przynajmniej u bardziej rozwiniętych narodów społeczna patologia część ich fizyologii stanowi. Sądzę przeto, że mi za złe wziętem nie będzie, skoro oświadczę, iż jak w sztuce, tak i w polityce starszej czy nowszej, choroba nerwów — megalomanią, obłędem wielkości zwana, wielkie sprowadza zboczenia. Lecz, jeżeli w sztuce takie zboczenia tylko pewną wywołują dziwaczność, która więcej autorowi niż publiczności szkodę przynosi (jakkolwiek często rzecz ta tak zupełnie niewinną nie jest!) to w polityce sprawa ta zupełnie inaczej się przedstawia. Dzieje starożytne dostarczają nam wiele więcej przykładów szkodliwych ludzkości megalomanów, aniżeli dobroczyńców swych narodów i krajów. Na jednego z tych ostatnich przypada dwudziestu obłąkanych wielkością... Komuż są obce nazwiska Kambyzesa, Sezostrysa, Ramzesa, lub nawet Aleksandra W., który w dzieciństwie się troszczył, iż ojciec świat cały zawojuje, a jemu nic do łupienia nie pozostanie? Ale i nowsza historya może się poszczycić takim Ludwikiem XIV, Karolem XII lub Napoleonem I, którzy przeszli przez świat wśród morza krwi i pożarów, w swą wysoką zapatrzeni gwiazdę... Ograniczonym wydaje się to wielkością, ale była to wielkość pozorna, gdyż Karol XII swą pychę opłacił więzieniem i marną śmiercią, a Napoleon dwukrotnem wtargnięciem obcych wojsk do kraju, straszliwem wyniszczeniem Francyi, która się całej Europie podejrzaną stała i ostatecznie plon zasiany pod Jeną i Eylau zebrała na polach Sedanu... Od Napoleona I chwieje się budowa Francuzkiego państwa, a gmach Europy w głębokie rysuje szczeliny.

„Czyż nie to samo względnie do Włoch — mówi dalej Lombroso — da się powiedzieć o Crispim, o ministrze, którego pisma zagraniczne wielkim zowią, a który prawdopodobnie obłędowi wielkości jedynie podlega. Burzliwy jego umysł — zbyt często uchodzi to za wielki umysł — wytwarza potwornie gigantyczne pomysły, szkoda tylko, że ze środkami kraju w żadnym niezostające stosunku. Pomysły te uważa szeroka, nawet dyplomatyczna publiczność za genialne, podczas, gdy już sam brak wszelkiego stosunku między niemi a faktami realnemi — wystarcza, aby je wprost bezrozumnemi nazwać. Crispi, zawikławszy Włochy w wyprawy afrykańskie, sądzi teraz po wynalezieniu terminu „kolonie erytrejskie“, że zdwokackiemi układami i papierowemi traktatami abisyńskich królów w ich niedostępnych górach dosięgnąć zdoła, — podczas gdy ci za kilka miesięcy wszystkie jego papiery wyśmieją. Wybuchają zaburzenia lokalne w dwóch czy trzech małych gminach Sycylii, a Crispi nietylko zawiesza stan oblężenia nad całą wyspą, lecz jeszcze wysyła w dodatku całą armię, której transport i utrzymanie przeszło osiem milionów lirów kosztuje i to wtedy, gdy jeden lub dwa pułki, popierające trochę sensu władz pacyfikacyjnych, całe zajście uśmierzyćby zdołały! W Crispim uosobiony jest polityczny obłęd wielkości, który wszystkie stosunki i fakty rze-

---

WŁODZIMIERZ KOROLENKO.

DZIWNA.

SZKIC.

(Dokończenie.)

Wysłuchał ją pułkownik i nic, — spokojnie odpowiada:

— Nie mogę, nic nie mogę dla pani zrobić. — Według prawa.... niemożna. —

Patrzę, moja panna poczerwieniała cała, oczy jak węgle. —

— Prawo! mówi i zaśmiała się po swojemu gniewnie i głośno. —

— Tak jest, — odpowiada pułkownik, — prawo! —

Muszę przyznać, żem się cokolwiek zapomniał i odezwałem się!

— Wasza miłość, takie prawo jest, lecz ona chora, — spojrzał na mnie surowo....

— Jak się nazywasz? — spytał. — A pani, mówi. jeżeli choroba dokucza, czy nie łaska do szpitala więziennego?

Odwróciła się od niego i słowa nie rzekłszy odeszła. — My za nią. — Iwanow do mnie:

— Co teraz będzie? przez ciebie, bałwanie, nawarzyliśmy piwa, które trzeba będzie wypić! — kazał konie zaprzęgać i nie chciał słyszeć nawet o przeczekaniu nocy, tak że trzeba było jeszcze tej samej wyjeżdżać. — Poszliśmy do niej i mówimy:

— Niech pani pozwoli, — konie już gotowe — siedziała zaś na kanapie, chcąc się zapewne trochę ogrzać. — Skoczyła na te słowa, wyprostowała się i patrzy na nas, aż mnie ciarki przeszły. —

— Przeklęci! — zawołała i znowu niezrozumiale po swojemu przemówiła. — Zdaje się, że po rosyjsku, a jednak niepodobna tego zrozumieć. — Tylko gniewnie i z jakąś boleścią mówiła!

— Teraz możecie mnie zamęczyć nawet, macie mnie w swej mocy, — róbcie ze mną, co chcecie. Jadę!

A samowar na stole stoi, — ona zaś herbaty jeszcze nie piła. — Zaparzyliśmy z Iwanowem herbaty i jej także nalałem. — Miałem chleba białego, — odkrajałem dla niej kawałek.

— Niech się pani napije na drogę, — mówię. — Chociaż trochę dla rozgrzania. — A kładła akurat kalosze. — Obróciła się do mnie, popatrzyła, plecami ruszyła i mówi:

— Cóż to za człowiek doprawdy? Zdaje mi się, żeście zupełnie zwarjowali. — Będę pić ich herbatę.....

Niech sobie pan wyobrazi, jak mi się przykro zrobiło. — Teraz jeszcze, gdy sobie o tem przypomnę, niemiło mi jakoś.... Ot pan nie brzydzi się z nami chleb — sól jeść! — Rudakowa, pana z panów, wieźliśmy, — ten także nie gardził. — A ona wzgardziła..... kazała sobie potem osobno samowar nastawić, no i wiadomo: za herbatę sama zapłaciła.... Dziwna! —

Hawryłow zamilkł i przez czas niejaki cisza w izbie zapanowała; przerywało ją tylko jednostajne sapanie młodszego żandarma. —

— Pan nie śpi? — spytał Hawryłow. —

— Nie, — proszę, mówcie dalej! słucham. —

— ...... Dużo się od niej wtedy nacierpiałem, — ciągnął dalej Hawryłow. — W drodze pogoda była okropna.... Deszcz lał strumieniami, las huczał i wył; ciemno było, — choć oko wykol, a jednakże dotąd jeszcze dniem i nocą widzę jej postać: te oczy, i twarz jej zachmurzoną i bladą i ją biedną zziębniętą, zapatrzoną gdzieś wdal bez pamięci.....

Gdyśmy ruszyli, chciałem ją okryć kożuchem. —

— Niech pani włoży to na siebie, mówię, zawsze to cieplej.... Odrzuciła kożuch precz. To do was należy, mówi, to i kładźcie na siebie. — Kożuch w istocie był mój, wziąłem się jednak na sposób i mówię:

— Nie mój jest, jako żywo: wedle prawa należy się pani.....

Włożyła. — Ale i to nie wiele pomogło: gdy już świtać zaczęło, patrzę, a ona biedaczka ni żywa ni umarła. — W drodze kazała Iwanowowi siąść na kozioł. — Zaczął mruczeć, lecz nie miał odwagi się sprzeciwiać, — tem bardziej, że już wytrzeźwiał trochę. — Usiadłem koło niej. — Trzy doby jechaliśmy bez odpoczynku. — Według instrukcyi na nocleg zatrzymywać się nie wolno, a w razie wielkiego zmę-

czywiste w potwornie przesadzonych widzi rozmiarach. Czyny jego, zdradzające zupełne niezrozumienie tego, co się naokoło niego dzieje, nie są wcale genialnemi; świadczą jedynie o dziwnej gwałtowności jego umysłu. Lecz ponieważ żaden przeciętny człowiek na takie czyny się nie zdobył, uważa wielu tę dziwaczność za... genialność. Tak samo był Ludwik XIV, król słoneczny, tak samo Karol XII za genialnego uważany. Prawda, obłęd wielkości mężów politycznych, czy też geniuszów, czy szaleńców kończy się z nimi, a nawet wcześniej — stokroć zgubniejszym atoli jest obłęd wielkości ludów. Lud, z natury, jak dziecko, goni za wielkością, za zdobyczą; nie chciałby nigdy nic swego zagubić, ale zawsze coś zyskać i dla tego mirażu gotów poświęcić niejedno dobro posiadane, niejedną godzinę spokoju i własnego szczęścia".

Dotąd Lombroso. Przenikliwy umysł naturalisty psychologa jakby się lękał, aby megaloman Crispi nie pociągnął za sobą do megalomanii Włoch i nie przyprawił już nietylko o straty w Afryce, ale o zachwianie stanowiska i bytu wywalczonego tylu ofiarami i poświęceniem tylu szlachetnych i rozumnych ludzi w Europie. Jakby na potwierdzenie tych obaw, doniosły ostatnie depesze o dziwacznym, jeżeli nawet nie o śmiesznym poprostu zamiarze Crispiego, ogłoszenia króla Humberta: cesarzem Etiopii! Każdy rozsądny i chłodny człowiek musi się wprost zapytać, co ma znaczyć ta maskarada, nie nowa w pomyśle, bezskuteczna w praktyce, bez doniosłości dla przyszłego rozwoju Włoch i Afryki. Czy wszystkie tytuły amerykańskie zabezpieczyły Hiszpanię i Portugalię od upadku politycznego i ekonomicznego, gdy runęła podwalina ich potęgi — dzielność wewnętrzna narodu? Czy panowanie królowej Wiktoryi stało się silniejszem w Indyach z chwilą włożenia na jej głowę przez Disraelego korony cesarskiej? Była w tem przynajmniej jakaś oryginalna świeżość pomysłu w dziewiętnastym wieku — ale plagiat p. Crispiego jest wprost niesmaczny. W chwili, gdy Włochy zmarnowały ćwierć wieku na ściganiu polytycznej mary „wielkiego mocarstwa" w Europie, niezdoławszy poprawić ani socyalnego stanowiska ludu, ani zapewnić jego ekonomicznego rozwoju i postępu oświaty, w chwili, gdy położenie stało się tak złe, jak gorszem chyba być w kraju wolnym nie może; w takim momencie ogłaszać panującego cesarzem Etiopii — jest to mianować go prawdziwie in partibus infidelium, jest to więc poprostu żartować z jego godności i położenia państwa! Pan Crispi naturalnie zna daleko lepiej, niż my, cośmy raz lub dwa do Włoch zajrzeli, kraj swój i naród swój, może więc właściwiej osądzić, o ile nowy tytuł króla podoba się jego współziomkom, wzbudzi w nich zapału; sądzac jednak zdala i kierując się prostem chłopskiem orzeczeniem: co po tytule, kiedy pustki w szkatule — wątpić można, aby Włochom było lżej, gdy ich król zostanie cesarzem w Afryce... Palący deficyt około 80 mil. lirów rocznie pewno się z tego powodu nie zmniejszy, a wydatki na armię do 370 mil. dochodzące i stanowiące 23 do 25 proc. budżetu nietylko się od tego nie zmniejszą, ale powiększą, skoro Włochy odnośnie do nowego tytułu króla będą starały się podtrzymać i swą władzę w całej Etiopii. Ażeby zaś objawione tym sposobem pretensye włoskie do rozległych krain afrykańskich miały ułatwić poprawę stosunków między Kwirynałem a pałacem Elizejskim, gdzie przy okazyi uwierzytelnienia nowego posła włoskiego wypowiedziano sobie mnóstwo czczych komplimentów — w to również uwierzyć niepodobna.

Cóż więc zamierzył p. Crispi osiągnąć swym szczególnym aktem, ucesarstwienia króla Humberta? Powiadają, iż tym sposobem pragnie on zyskać jakieś popularne hasło do wyborów majowych, aby pod tem hasłem zapewnić sobie wygodniejsze, niż dotąd, stanowisko w rządzie i izbie. Czy to możebne? Czy Włochy są tak niedojrzałym narodem, iż nie widzą szaleństw człowieka, opanowanego przez obłęd wielkości i władzy, czyż nie dostrzegają, iż tylko spieszne wycofanie się z tak zwanego „trójprzymierza", redukcya armii do rozmiarów naturalnych sił finansowych państwa i zgoda rzetelna ze wszystkiemi mocarstwami, a z drugiej reformy agrarne, ekonomiczne, administracyjne na wewnątrz — mogą wydźwignąć je z upadku. Wybory tegoroczne będą pod tym względem decydujące i wykażą, czy kraj otrzeźwiał, czy posiada jeszcze zdrowy zmysł polityczny, którego Włochom nie zbywało dotąd nigdy, czy też uległ już niebezpiecznej zarazie megalomanii i śladem swego pierwszego ministra, idzie zapatrzony w „swą gwiazdę" wprost do przepaści, a przynajmniej do smutnych wstrząśnień, które o pół wieku mogą go cofnąć z drogi cywilizacyi i dobrobytu. Dla równowagi europejskiej byłby to wypadek wcale niepożądany i życzyć raczej można ludowi słonecznej Italii, aby czemprędzej pozbył się swego megalomana i odetchnął zdrowszem i normalniejszem, niż dotychczas życiem.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„Goniec Wielkopolski" poddaje w nr. 58 ostrej krytyce postępek ks. *Librewskiego*, inicyatora procesu Tarnopolskiego. Czytelnicy nasi znają przebieg sprawy z feljetonu „Sulli" zamieszczonego w ubiegłym numerze. Feljeton ten nie spodobał się stojącemu pod wpływami ks. Laubitza „Dziennikowi Kujawskiemu", który solidaryzuje się z prokuratorem austryackim i wcale niedwuznacznie wyraża życzenie, aby oskarżeni o zdradę stanu gimnaziści polscy przesiedzieli się lat kilka w więzieniu, a w końcu napada na redaktora pisma naszego za to, że nie zataił winy ks. *Librewskiego* przed gronem czytelników swoich. „Dziennikowi Kuj." odpowiadamy, że, jeżeli życzy młodzieży Tarnopolskiej pokuty w murach więziennych, to przedewszystkiem własnych patronów przed pruskim prokuratorem oskarżyć powinien z powodu ich głośnej „Sturm- i Drangperiode" w gimnazyalnych czasach. Przedawnienie jeszcze nie nastąpiło. Co zaś do ks. Librewskiego to my wraz z „Dzien. Kuj." ubolewać możemy nad postępkiem spowiednika, ale taić go nie myślimy i cytujemy bez wahania sąd „Gońca Wielkopolskiego" w tej sprawie:

„Musiał też Kościół uciec się do środków formalnej natury, aby zapewnić spowiedzi warunki konieczne, niezależnie od większej lub mniejszej doskonałości spowiednika. Do takich to środków należy przedewszystkiem zakaz zdrady tajemnicy spowiedzi. Cel tego zakazu jest ten, aby przystępujący do spowiedzi miał pewność, że z tej czynności religijnej nie może urość dla niego żadne niebezpieczeństwo odpowiedzialności za swe grzeszne uczynki przed sędziami ziemskimi, aby rzeczywiście był wolnym od obawy niekorzyści lub kar doczesnych.

Na tem stanowisku poszanowania tajemnicy spowiedzi stoją także państwa, które nietylko zrzekają się korzyści ze zdrady tej tajemnicy, ale nawet surowo taką zdradę karzą.

A choć wszelkie przepisy, jak powiedział ktoś dowcipny, istnieją poto, aby je obchodzić, to przecież sądzę, że nikt nie będzie tej maksymy stosował także do przepisów o zdradzie tajemnicy konfesyonału, a już najmniej przystawałoby to księdzu katolickiemu.

Niestety jednak wydarzył się taki wypadek u nas, a wypadek ten jest tem więcej ubolewania godny, że pociągnął za sobą bardzo smutne następstwa. Zdaje się bowiem być dowiedzionem, że cały proces tarnopolski, który dwudziestu i sześciu młodzieńców postawił

---

czenia tylko w miastach, gdzie są straże. — No, a pan sam wie dobrze, jakie tu są miasta. — A przy tem sama nagliła, — jaknajprędzej chciała być na miejscu. —

Przyjechaliśmy nareszcie na miejsce; jakby kamień z serca mi spadł, gdy miasto nareszcie zobaczyłem. — A muszę panu powiedzieć, że w końcu na rękach nieledwie ją przywiozłem. Widzę, że leży w kibitce jak nieżywa; przy każdem wstrząśnieniu głową o brzeg uderza. — Objąłem ją prawą ręką i wiozłem. — Z początku odepchnęła mnie, — precz, mówi, nie dotykać się! — A potem już nic..,. Pewnie dlatego, że nieprzytomna była.... Oczy zamknięte, powieki ściemniały i twarz nie taka groźna była.... I nawet uśmiecha się przez sen, — pewnie do swych pięknych snów...

Gdyśmy już do miasta dojeżdżali. obudziła się i podniosła.... Pogoda zrobiła się lepsza, nawet słońce z za chmur wyjrzało, — powesela i ona. —

Z gubernii, t. j. z miasta gubernialnego, wysłali ją jeszcze dalej i ja ją wiozłem w dalszym ciągu, gdyż miejscowi żandarmi byli w rozjazdach. — Chociaż bardzo zmęczona, wyjeżdżała jednak jakaś weselsza. — Na samym wyjezdnem, — patrzę, a tu schodzą się na policyę młode panny i panowie studenci, pewnie z zesłanych. — I zupełnie jak znajomi rozmawiają z nią, ściskają ją za rękę, rozpytują. — Przynieśli jej trochę pieniędzy i chustkę na drogę. — Odprowadzali.....

Jechała wesoła, kaszlała tylko często, na nas zaś najmniejszej uwagi nie zwracała. —

Przyjechaliśmy do miasta powiatowego, gdzie miała zamieszkać i oddaliśmy ją za poświadczeniem. — Zaraz wymieniła ona jakieś nazwisko. — Czy tutaj mieszka ten pan? — pyta. — Tutaj, — odpowiadają. —

Przyjechał „isprawnik".*) — Pyta: — gdzie pani zamieszka?

— Nie wiem, odpowiada, ale tymczasem mieszkam u Riazanowa. —

Pokiwał głową, a ona poszła, nie pożegnawszy się z nami....

— I nie widzieliście jej więcej? —

— Widziałem, ale lepiej było nie widzieć.....

I nawet prędko ją znowu zobaczyłem. — Po powrocie z tej podróży, znowu nas wysłano w tę samą drogę. Wieźliśmy jednego studenta. Był wesoły bardzo, ładnie śpiewał i wypić także lubił. Jego jeszcze dalej wysłali. Przejeżdżaliśmy przez to miasto, w którem ją zostawiliśmy i ciekawość mnie brała dowiedzieć się o niej co nieco. Pytam ludzi, czy tu panna nasza mieszka? Mówią, że tu, ale dziwna ona jakaś; zaraz po przyjeździe poszła do „politycznego"**) i nikt jej od tego czasu nie widział. mieszka u niego. Jedni mówią, że chora, drudzy plotą, że nałożnicą mu jest. Wiadomo, jak zwykle pospólstwo.

A ja wiem, jak ona z nim żyje. Pamiętam co mówiła: — u swoich umrzeć chcę. — I ciekawość mnie coraz większa brała, a i ciągnęło mnie tam coś. Pójdę, myślę, zobaczę ją. Poszedłem, dobrzy ludzie drogę pokazali; a mieszkała na końcu miasta. Domek był mały, drzwi niziutkie. Wszedłem do mieszkania „politycznego", czysto u niego, pokoik jasny; w kącie łóżko stoi, przy łóżku parawan. Obok jego warsztat i tam na ławce druga pościel leży. Gdy wszedłem, siedziała akurat na łóżku, okryta szalem i coś szyła. A „polityczny" obok niej na ławce i coś jej z książki czytał. Ruszyłem drzwiami; spostrzegłszy to podniosła się, za rękę go uchwyciła i jakby skamieniała. Oczy jej się rozszerzyły, ściemniały i były takie straszne..... Zupełnie, jak przedtem, tylko że zdała mi się jeszcze bledszą. Za rękę go mocno ścisnęła; przerażony rzucił się do niej.

— Co pani jest, pyta, na miłość boską? niech się pani uspokoi. A mnie nie widzi. Puściła jego rękę i chce wstać z łóżka.

— Żegnaj pan, mówi, widocznie zazdroszczą mi oni nawet śmierci spokojnej. Do widzenia panu! —

Odwrócił się instynktownie, ujrzał mnie i jak nie skoczy.... Myślałem, że mnie na miejscu zabije. Wie pan, oni sądzili, że znowu ją brać przyśliśmy. Zauważył jednakże, że stoję ni żywy, ni martwy, sam przelękły i przytem jeden.... Odwrócił się do niej, wziął ją za rękę i roześmiał się.

— Niech się pani uspokoi, mówi, — a wy, — zwraca się do mnie, — czego przyjacielu potrzebujecie? —

Załowałem bardzo, żem ją tak przestraszył. Powiedziałem mu, że przyszedłem ją zobaczyć, a i ona mnie tymczasem poznała. Widzę że, gniewa się wciąż, zupełnie tak jak przedtem. —

*) urząd policyjno-żandarmski.
**) przestępca polityczny.

przed trybunałem karnym, wynikł z takiego właśnie postępku kapłana".

Scharakteryzowawszy następnie przebieg głośnej sprawy, tak pisze „Goniec Wielkopolski:

„Otóż, pomijając już niemoralny przykład zdrady zaufania prywatnego, wprost wyłudzonego podstępnie przez postawienie obok „słowa honoru" jakiegoś innego „słowa — bez honoru", które ks. Librewski uważał za stósowne złamać, musimy nadto uczynić księdzu L. zarzut jeszcze cięższy w tym kierunku, iż przez polecenie, konfesyonantowi przy spowiedzi dane, wręcz wykroczył przeciw obowiązkom spowiednika. Nietylko bowiem powinien kapłan w konfesyonale zapomnieć o wszelkich sprawach świeckich i swoich urzędach państwowo-świeckich, a być tylko duszpasterzem-pocieszycielem, ale tem bardziej powinien powstrzymać się przy tej sposobności od podobnych poleceń w interesie publicznej władzy karnej, które naturalnie na młody umysł mogą działać z niepokonaną siłą".

Dla informacyi czytelników naszych donosimy, że ks. *Librewski* zrezygnował na razie z swej posady w formie „urlopu", a wszyscy oskarżeni uwolnieni zostali przez sąd przysięgłych.

—

W nr. 56 „*Gazety Toruńskiej*" czytamy następujący przyczynek do historyi polsko-niemieckich stosunków. Rzecz dzieje się w mieście St. na Kociewiu:

W pewnej oberży pańskiej przy pańskiej ulicy, gdzie bywa cała polska intelligencya a zwłaszcza księża z całej okolicy, bawili dwaj Polacy, jeden z intelligencyi a drugi porządny i przyzwoicie ubrany rzemieślnik — oczywiście rozmawiali po polsku. Siedzący w pobliżu jakiś budowniczy Niemiec nie mógł znieść dźwięku polskiej mowy, a więc powiada: „So hören Sie endlich mit dem Polnischen auf, immer das dumme Polnisch itd." (Zaniechajcie wreszcie polskiej mowy, wiecznie ta głupia polszczyzna i t. d.) Na to Polacy dobrze się odcięli Niemcowi, który przeto pobiegł do gospodarza i rzekł do niego podniesionym głosem: „Nun wählen Sie, entweder verlieren Sie die deutsche oder die polnische Kundschaft." (Wybieraj pan teraz, stracisz albo niemieckich albo polskich gości).

Gospodarz, Polak z krwi i z nazwiska, zamiast zuchwalca pouczyć, że w jego lokalu każdy gość ma prawo mówić swoim językiem, że wszyscy goście równie mu są mili, przez co z pewnością na utratę klienteli niemieckiej by się nie naraził, od razu stanął po stronie Niemca. Nie mając zaś odwagi zaczepiać pana z intelligencyi, wezwał rzemieślnika, aby opuścił lokal, a gdy ten wskutek zachęty swego towarzysza pozostał na miejscu, wziął go gospodarz za kołnierz. Oczywiście obydwaj Polacy niezwłocznie się wynieśli".

—

„Dziennik Kujawski donosi w nr. 55:

„Pana Neukircha, nauczyciela z Juńcewa, ukarał inspektor ze Żnina pięciu markami porządkowej kary za to, że p. N. we wolnym czasie z dziećmi szkólnemi chodził na mszę św. do kościoła. Regencya bydgoska zaś, do której się p. N. z prośbą o zniesienie niesłusznie nałożonej kary odniósł, dołożyła mu jeszcze dziesięć marek z tem nadmienieniem, że jeżeli się p. N. jeszcze raz podobnego karygodnego czynu dopuści, będzie natychmiast z urzędu złożony. Podpisany jest na rzeczonym ukazie p. Maltzan, zięć prezesa regencyi Bydgoskiej, p. Tiedemanna, znanego dostatecznie ze swego kategorycznego orzeczenia wystósowanego do Polaków: „Die beste Deckung ist der Hieb!"

—

„*Nowiny Raciborskie*" zamieszczają taką *charakterystyczną* korespondencyę z Ruderswald na Górnym Szlązku (Nr. 30):

„Czytając numer 28 „Nowin Raciborskich", natrafiam artykuł tyczący „odczytu" posła konserwatywnego p. Segetha z Lubomi, nad którym po prostu osłupiałem! Pan Segeth twierdził w swoim odczycie, iż członkowie towarzystwa polskiego w Haci i Ruderswaldzie zakazali pewnemu 15-letniemu chłopcu mówić przed sądem po niemiecku. Twierdzenie to jest prostym wymysłem bez wszelkiej podstawy, bo ani w Haci, ani w Ruderswaldzie nie istnieje żadne towarzystwo polskie, ani żadne inne jak tylko wojańskie (Kriegerverein), które jest nawskroś p a t r y o t y c z n e i nigdy nikomu podobnych rad ani rozkazów nie dawało. ...Co się zaś tyczy wioski Ruderswaldu, to ubolewam, że p. Segeth nie był tu przytomny w takie dni uroczyste jak w zeszły dzień urodzin naszego Najjaśniejszego i Najmiłościwszego Pana i dla tego nie ma pojęcia, jak ten polski ludek pospołu ze związkiem wojańskim przy nabożeństwach, które się odprawiają na intencyą tegoż związku za Najjaśniejszego Monarchę gorliwie się modli i pełną piersią nabożnie śpiewa. Usłyszałbyś wtedy, p. Segeth, jak kapela gra patryotyczne hymny niemieckie, które prezes związku intonuje, i widziałbyś łzy radości i oznaki miłości i uszanowania dla cesarza, gdy po zaprezentowaniu broni niżej podpisany prezes wzdłuż frontu niósł obraz jego i wznosił okrzyk na cześć jego. Te głośne wiwaty weteranów wojskowych, pochodzące z głębi piersi, byłyby pana posła przekonały, że się mylił.

Fr. Gonsior,
prezes związku wojańskiego i członek urzędu gmińskiego."

—

„*Orędownik*" tak charakteryzuje w nr. 58 stosunki w szwalniach poznańskich:

„Znamy nie jeden, ale więcej takich przypadków, że dziewczęciu płacą tyle co nic, bo to nauka; cały rok każą mu przyszywać same rękawy i taka panna z całej nauki ma tyle, że umie tylko rękawy przyszywać. Idzie więc do innego składu; tam ją biorą znowu w naukę, każą zszywać same spodnice. o dwóch latach nauki matka odbiera córkę, bo córka niczego nie zarabia i niczego się nie nauczy, tylko umie przyszywać rękawy i zszywać spodnice. I znowu ojciec musi pracować na wyżywienie córek; do innych handlów lub szwalni nie przyjmą ich, bo im powiedzą, że nic nie umieją, tylko szyć rękawy i spodnice.

Mało jest takich szwalni większych, gdzie dziewczę przez dwa lata wyuczy się szycia tak, że może się zgłosić, gdzie chce. Są w Poznaniu handle, które tylko w ten sposób pracują dziewczętami; każą im szyć tylko pewne części, płacą licho, więc towar tanio sprzedają i zarabiają tylko na naszych licho płatnych dziewczętach.

Są handle i szwalnie, gdzie w ten sposób dziewcząt nie wyzyskują, gdzie je naprawdę uczą szycia i jako tako uczciwie im płacą, ale takich handli i szwalni nie jest w Poznaniu wiele i dla tego choć się tam dziewczęta cisną, to wszystkie umieszczone być nie mogą.

Nigdzie szwaczek tak nie wyzyskują, jak w Poznaniu".

Przegląd prasy słowiańskiej.

Chorwacki „*Obzor*" rozpisuje się, jaką doniosłość dla całej Słowiańszczyzny mają nominacye na urząd rosyjskiego ministra spraw zagranicznych i ambasadora rosyjskiego w Wiedniu. Dziennik zagrzebski pisze:

„W Rosyi istnieją dotychczas dwie szkoły dyplomacyi: jedni dyplomaci wychowani w duchu obcym, sympatyzującym z Niemcami, drudzy są dyplomatami iście słowiańskimi, rosyjskimi. Nasze sympatye skłaniają się oczywiście ku ostatnim, albowiem pierwsi nie znają prawdziwej misyi słowiańskiej, jaką ma do spełnienia Rosya.

„Dopiero po wstąpieniu na tron Aleksandra III wpływ niemiecki został na dworze osłabionym, niestety nie usuniętym zupełnie. Aleksander III był Rosyaninem, ale nie był on w stanie zerwać od razu z polityką dawniejszą. Kierunek Niemcom wrogi wziął atoli ostatecznie górę i daremnemi okazały się wszelkie zabiegi wroga Słowian, ks. Bismarka, ażeby akcyę słowianofilską na dworze petersburskim sparaliżować.

„Naturalnie, nie można brać za złe zmarłemu carowi, że nie potrafił wpływu niemieckiego złamać do szczętu, bo wpływ ten jest głeboko zakorzeniony. Reprezentantem tego kierunku był zmarły Giers, aż do śmierci dzierżący tak ważny urząd w swem ręku. Na szczęście był zmarły wiernym sługą cara, popierał go w polityce pokojowej gorliwie, a właściwym kierownikiem polityki zewnętrznej był car sam.

Kto będzie obecnie ambasadorem w Wiedniu? Nie chcemy zgadywać. O młodym carze sądzimy, że prowadzić będzie dalej program swego ojca, może z tą zmianą tylko, że działać będzie energiczniej.

„Spodziewamy się, że ambasadorem w Wiedniu zamianuje męża, żywiącego uczucia sympatyi dla Słowian, którego zadaniem będzie utrzymywanie jak najlepszych stosunków z Austryą, mając to na uwadze, że większość ludności w państwie austryackiem jest pochodzenia słowiańskiego. Ze względu na tę solidarność moralną Słowiańszczyzny — nie mówiąc o solidarności politycznej — nie może nam być obojętnem, kto ambasadorem zostanie.

„Nikt więcej od nas nie pragnie, aby stosunki pomiędzy Austryą a Rosyą były przyjazne. Na tem polega gwarancya pokoju europejskiego; przyjaźń austro-rosyjska dałaby możność rozwiązania pokojowego kwestyi wschodnich i nie doprowadziłaby do wojny powszechnej w razie zatargu niemiecko-francuzkiego.

„Rosya nie mięszała się nigdy do wewnętrznych spraw naszej monarchii. Nie ma atoli żadnej tajemnicy, że Niemcy często do spraw wewnętrznych się wkręcali, że Austrya musiała im robić niejednokrotnie ustępstwa.

„Wyrażamy z drugiej strony i pewne obawy co do decyzyi młodego cara. Historya nas

---

— Zdaje ci się człowieku, że całem sercem rad byś usłużyć, a ona patrzy jak na żmiję jadowitą.... —

On zrozumiał, o co idzie, uśmiechnął się do niej i zaczął jej coś mówić. Nie wszystko z tego mogłem zrozumieć, wy przecież, panowie, tak dziwnie z sobą rozmawiacie! On mówi spokojnie i poważnie, a ona z gniewem i lekceważąco. „Polityczny" mówi:

— Niech pani zrozumie: człowiek, a nie żandarm do pani przyszedł. —

A ona mu odpowiada:

A dlaczego służy? —

— Boże mój! myślę sobie, czyż nie jestem człowiekiem dla niej? Czy to z własnej woli jej coś złego wyrządziłem? Gorżko mi się zrobiło. —

— Pani wybaczy, mówię, żem ją przestraszył. —

— To nic, odpowiada, żeście mnie przestraszyli. Rzecz nie w tem. —

— Głupio mi było tam siedzieć, więc mówię: „do widzenia!" A ona nic nie odpowiedziała; on zaś odwrócił się do mnie, podał mi rękę, spytał, gdzie jedziemy....

— Będziecie wracać z powrotem, to wstąpcie, proszę — mówi.

A ona patrzy na niego i uśmiecha się po swojemu.

— Nie rozumiem, — powiada.

A on jej:

— Zrozumie pani później, serduszko ma pani dobre. —

Gdyśmy nazad wracali, zawezwał naczelnik „starszego" do siebie i mówi mu:

Zostaniecie tutaj, aż do dalszego rozporządzenia; dostałem telegram: papier dla was pocztą przyjdzie. —

Zostaliśmy. I znowu poszedłem do nich, t. j. właściwie nie do nich, a tylko koło ich domku krążyłem, a tam myślę sobie, chociaż przez gospodarzy dowiem się o nią. Zaszedłem. Gospodarz domu mówi:

— Źle jest, aby tylko nie umarła. Boję się odpowiedzialności, gdyż popa wołać nie chcą. —

Stoimy i rozmawiamy, a tu „polityczny" do sieni wychodzi. Zobaczył mnie, przywitał i pyta:

— Znowu przyszliście? Proszę, wejdźcie. —

Wszedłem pocichu, a „polityczny" za mną. Spojrzała ona i pyta:

— Znowu ten człowiek? Czy to pan go wzywał? —

— Nie, mówi, nie wzywałem, sam przyszedł. —

Nie wytrzymałem i pytam się jej:

— Za co się pani na mnie tak zawzięła? czy wrogiem pani jestem?

— Wrogiem, mówi, — a wy nie wiecie? Wrogiem moim jesteście! —

Głos jej osłabł i ścichł, na policzkach rumieniec się pali; taka ta twarz ładna, że zdaje się, iż się jej dowoli napatrzeć nie można....

Widzę: niedługo jej już słonko Boże oglądać, poprosiłem o przebaczenie, aby nie umarła nie przebaczywszy.

— Niech pani wybaczy, mówię, jeżelim kiedykolwiek co złego jej wyrządził. —

Znowu, widzę, wzburzona....

— Przebaczyć! Jeszcze czego! Nigdy nie przebaczę, nawet nie łudźcie się, nigdy!

Hawryłow znowu zamilkł i zamyślił się.

Potem ciągnął wolniej i jakby z namysłem.

Znowu zaczęli z sobą rozmowę. Pan jesteś człowiekiem wykształconym, mowę ich rozumieć musisz, to i powiem, jakie słowa w pamięci mi utkwiły. Gdy zaczęli wolniej i spokojniej mówić, wsłuchałem się. Słowa do dzisiejszego dnia pamiętam, a sensu nie rozumiem.

On mówił:

— Niech pani zrozumie, że nie idzie tu o przebaczenie, człowieka niech pani w nim uzna. Inna rzecz — przebaczyć; on sam może nie przebaczyłby sobie. —

Potem już zupełnie dziwnie zaczęli rozmawiać; patrzą na siebie zimno i zdają się sprzeczać. On jej mówi:

— Pani jesteś zaślepiona. —

— A pan, — odpowiada mu, — chłodny i obojętny człowiek. —

Usłyszawszy to, skoczył jak oparzony.

uczy, że Rosya niekoniecznie była szczęśliwą w wyborze swych dyplomatów. Dopiero od niedawna poczęły się rządy zmieniać na lepsze. Miejmy jednak nadzieję, że nowym ambasadorem w Wiedniu zostanie mianowany Rosyanin, nie Niemiec rosyjski, — że nowy ambasador pracować będzie w kierunku utrzymania zgody obu państw i w kierunku wzmocnienia solidarności słowiańskiej.

Ambasador rosyjski nie jest na to w Wiedniu, aby pilnował spraw niemieckich; jako reprezentant Rosyi niech baczy na interesa rosyjskie i słowiańskie."

* * *

„*Il Pensiero Slavo*" pisze z powodu zasądzenia dwóch redaktorów czeskich, co następuje;

„Redaktorowie „Narodnich Listów", Anyż i Pachmayer, zostali zasądzeni, jeden na zapłacenie 800 fl. kary, drugi na 4-miesięczne ciężkie więzienie, obostrzone postami.

„Pragskie „Narodni Listy" tak ze względu na świetny sposób redagowania, jako też dla różnolitości informacyi mogą być śmiało postawione obok najlepszych pism europejskich. „Narodni Listy" rozpowszechnione są po całej Słowiańszczyznie, a występują śmiało i otwarcie w obronie idei solidarności słowiańskiej. Kara taka spotyka je za to, że przytoczyły tenor mów Gregra, Czernohorskiego i Kannica, wypowiedzianych w sejmie czeskim. Prokuratorya numery te skonfiskowała, a obok tego wytoczyła proces, upatrując w przytaczaniu mów dowód tego, że pismo na tendencye w mowach wypowiedzianych się zgadza.

„Słowianie austryaccy uważają w traktowaniu surowem Czechów ze strony sądów pragskich dowód tego, w jakim stopniu nieprzychylnym jest nam rząd austryacki."

* * *

W tryesteńskim tygodniku „*Slovanski Swet*", wychodzącym w języku słowińskim, tak się rozpisuje autor podpisujący się „scholasticus quidam", o zadaniu młodzieży akademickiej słowiańskiej:

„Studenctwo słowiańskie zostało przed niedawnym czasem zorganizowane jednolicie: jako organizacya jednolita, mająca jeden zarząd, może dziś więcej zdziałać, aniżeli dawniej. Pierwszem naszem zadaniem będzie agitacya wśród ludności słowińskiej, aby ją przebudzić do życia narodowego. Masy ludu dają się poruszyć łatwiej hasłami socyalnemi, a raz już poruszone i obudzone, łatwiej nam będzie w ruchu utrzymać i ruchowi temu nadać charakter wyłącznie narodowy.

Już w niższych szkołach dbać musimy o to, aby nasza młodzież była przygotowaną do tej pracy, która ją czeka w szkołach wyższych. W gimnazyach przygotowywać ją będziemy do zadania, jakie spełniać musi młodzież akademicka naszego narodu. W naszych szkołach średnich niczego się nie czyni, coby mogło młodzież skierować na pole pracy narodowej. Mało mamy nauczycieli gimnazyalnych patryotów, mało Słowińcow, a ci, którzy Słowińcami są, boją się otwarcie do walki z germanizacyą wystąpić.

„Należy nam się obecnie spodziewać zmiany na lepsze, gdyż w nowem towarzystwie zorganizowała się młodzież cała, a zarząd powierzono ludziom najruchliwszym i najenergiczniejszym, świadomym odpowiedzialności, jaką na siebie wzięli.". *K.*



KOBIETA.

I.

Ach! kiedy w tobie utopi swe oczy,
W których się mienią blaski migotliwe,
Jak noc głębokie, jako płomień żywe —
I w tęsknych zwierzeń godzinie uroczej
Spłoniona szepce i w miłosnym szale
Dziewiczej duszy odsłania tajniki —
Ty słuchaj głosu dźwięcznego muzyki,
Co koi serca niestłumione żale,
Jak harf dźwięk cichy w zaklętej krainie.
A zasłuchany patrzaj, jak ponętnie
Lekką zasłoną łona chwieją fale,
I jaki urok z jej postaci płynie,
I jakim ogniem płoną ust korale,
I — gdy pozwoli — całuj ją namiętnie.

II.

Ale nie przenoś tych darów przyrody,
Które kobiety ciało stroją w cudy,
Na duszę jej, bo marzeń twych ułudy
Prysną, jak wiosną pękające lody.
Niechaj myśl twoja kształtem się zachwyca,
Niechaj się nurza w harmonijnej toni
Świateł, barw, linii — duszy niech nie goni. —
A kiedy blada, jak posągu lica,
I dziwnym czarem promienieje drżąca,
Niechaj poezya strun duszy nie trąca,
Uroków swoich ci w serce nie miecie,
I niechaj zimny rozum ci zabroni
Dosiadać lotnych wyobraźni koni,
To tylko... gorset zbyt ciasny ją gniecie.

St.

O niższości kobiety.

Słynny poeta szwedzki August Strindberg, znany zarówno z swych utworów scenicznych, jak głębokiej nienawiści do pięknej połowy rodzaju ludzkiego, zamieścił w najświeższym czasie w paryzkiem czasopiśmie „Revue Blanche" interesującą rozprawę „O niższości kobiety".

Konkluzyą jego jest, że kobieta — to stworzenie, które nie rozwinęło się całkowicie, które zatrzymało się w procesie swego rozwoju w stadyum młodzieńczem, nie doszło do harmonii i równowagi wieku dojrzałego i pozostało na całe życie chimerycznem dzieciakiem. By twierdzenie to udowodnić, chwyta się wszelkiego argumentu: waży jej mózg, mierzy czaszkę, zarzuca, że krew traci w najbezsensowniejszy sposób bez żadnego dla organizmu pożytku itd. Dowodów swych nie sprawdza; posługuje się wszystkiem, co mu wpadnie w rękę. Gdy napotka na coś, co przeciw teoryi jego przemawia, woła tryumfalnie: „Widzicie, kobieta o tyle jest niższą, że nawet mimo tej pozornej wyższości nie dorównywa mężczyźnie! Nawet kawy nie umie porządnie uwarzyć."

We Francyi wystarczy być oryginalnym, aby pozyskać rozgłos, fanatyzm zaś skandynawskiego pisarza mógł wszędzie zadziwić. We Francyi wywołał on zdumienie. We Francyi sprawa emancypacyi kobiet mniejsze zrobiła postępy, niż gdziekolwiekbądź indziej. Wedle napoleońskiego kodeksu, żona podlega mężowi pod każdym względem: majątkiem swym nie rozporządza, nawet zarobiony przez nią samą pieniądz mąż może trwonić, nie pytając o jej pozwolenie.

Nie może ona wnieść skargi z powodu niedotrzymanego przyrzeczenia małżeństwa, nie może dochodzić ojcostwa. Z życia publicznego wykluczona, bez możności zarobkowania, bez oparcia się w ten lub ów sposób o mężczyznę, ma utrudnioną pozycyę na każdym kroku. Tam, gdzie oddawać może równe z mężczyzną usługi, praca jej wynagradzaną bywa cztery razy gorzej i jeszcze natłok kandydatek niezmierny. Uczciwa dziewczyna, z wyjątkiem nielicznych specyalistek, pracować musi 10 godzin, by zarobić 2 fr. Na zmianę nie zanosi się zupełnie, chyba gdyby niewiasty chwyciły się dwóch środków, któremi przeprowadzają się tu reformy: rewolucyi lub bezrobocia. Uczęszcza wprawdzie znaczna ilość dziewcząt do uniwersytetu, ale w dwóch trzecich są to nie Francuzki. Prezydentka krzykliwej tutejszej ligi emancypacyjnej, panna Astia de Valsayre, zrzekła się swej godności, uzyskawszy patent na lekarkę.

W tych warunkach walkę wypowiadać niewiastom, starać się je poniżyć i upokorzyć, mus

— Obojętny? mówi, sama pani wie, że nieprawdę w tej chwili powiedziała! —

— Może być, — odpowiada i uśmiechnęła się do niego, — a pan prawdę powiedział? —

— A ja, prawdę! —

Zamyśliła się, wyciągnęła doń rękę: on ją ujął. Spojrzała mu w oczy i mówi:

— ....Może pan ma i racyę. —

A ja stoję, jak głupi, patrzę, a koło serca mnie ckli. Potem obróciła się do mnie, spojrzała i na mnie bez gniewu i podała rękę.

— Powiem wam, — mówi, — nie przebaczę wam nigdy, słyszycie? Nieprzyjaciółmi jesteśmy. Ale rękę wam podaję, życzę być człowiekiem.... —

— Zmęczyłam się, — mówi do niego.... Poszedłem.

Umarła prędko. Nie widziałem, jak ją chowali, gdyż byłem wtedy u „isprawnika". Na drugi dzień spotkałem tylko „politycznego". Podszedłem do niego, spojrzałem, a on jakby z grobu wstał. Wzrostu był on wysokiego i oblicza poważnego; przedtem przyjaźnie na mnie spoglądał, a teraz spojrzał jak zwierz. Podał mi rękę, lecz zaraz ją wyrwał i odwrócił się.

— Nie mogę, bracie, mówi, patrzeć teraz na ciebie. Odejdź, proszę.... na rany Chrystusa.... odejdź! Potem, jeżeli jeszcze będziesz w mieście, zachodź, proszę. —

Głowę opuścił i poszedł, a ja udałem się na kwaterę i tak mnie rozebrało, że przez dwa dni nic do ust brać nie mogłem.... Smutno....

Na trzeci dzień zawezwał mnie „isprawnik" do siebie i mówi:

— Możecie jechać; papier przyszedł ale za późno. —

Widocznie, znowu mieliśmy ją wieść dalej, ale Bog się zlitował i sam zabrał.

Nie koniec to jednak.

Ot, jakie potem zdarzenie miałem. Powracając, przyjechaliśmy na jakąś stacyę. Wchodzimy do pokoju, a tam na stole samowar stoi i zakąski różne, a przy stole jakaś staruszka częstuje gospodynię herbatą. Czyściutka taka, nieduża, wesoła i gadatliwa; ciągle gospodyni o swoich sprawach rozpowiada.

— Zabrałam, — mówi, — manatki, dom, com w spadku dostała, sprzedałam i pojechałam do mojej gołąbki. To się ucieszy. Będzie się gniewać napewno, ale i uraduje się! Pisała mi, żebym w żadnym razie nie odważyła się do niej jechać.... Ale to nic..... —

Przeczucie jakieś mnie tknęło.... Poszedłem do kuchni i pytam służącej, co to za staruszka?

A to matka tej panienki, — mówi, — coście ją wtedy wieźli.

W głowie mi zaszumiało na te słowa, nawet dziewczyna przelękniona spytała co mi jest.

— Cicho, — mówię, — ta panienka.... umarła! —

Jak nie skoczy, w płacz uderzyła i z izby uciekła.

Wziąłem czapkę i wyszedłem, słyszałem przechodząc, jak staruszka wesoło z gospodynią gawędziła. Straszno mi się jej zrobiło, uciekłem; potem Iwanow dognał mnie na drodze z kibitką i pojechaliśmy razem....

..... Tak to było. A „isprawnik" widocznie doniósł władzy, żem do politycznych chodził, pułkownik z J*** także nie darował, jedno z drugiem. Nie chcieli mnie na podoficera awansować.

— Co za podoficer z ciebie, — mówił naczelnik, — baba jesteś! Do kozy by cię bałwanie! —

Tylko że wtedy było mi to wszystko obojętnem i nawet niczego nie żałowałem. I nigdy nie mogłem tej zagniewanej dzieweczki zapomnieć, a i teraz ciągle przed oczyma mi stoi. Co to może znaczyć? Kto mi to objaśni? Ale wy, panie, nie śpicie?

Nie spałem..... Przygnębiająca ciemność zakopanej w lesie lepianki męczyła mnie niewymownie, a w takt szalejącej burzy wynurzał się z niej bolesny obraz zmarłej dzieweczki....

KONIEC.

wydawać się przedsięwzięciem po waryacku oryginalnem. Francuz, ebezwładniwszy kobietę na wszystkich polach, nie szczędzi jej kadzideł. Podnosi i idealizuje w niej te zalety, z któremi męzki egoizm znajduje swój rachunek: trzyma ją w klatce ozdobnej i złoconej bogato.

Niektóre dzienniki, utartym zwyczajem, urządziły plebiscyt wybitnych pisarzy o artykule p. Strindberga. „Mówić o niższości kobiet — pisze A. Daudet — toż w kobiecie widzę matkę“. „Nie jestem już, niestety, w wieku, w którym mógłbym z góry patrzeć na kobiety“ — odpopowiada Aleks. Dumas. Leon Daudet, syn, unosi się nad kobiecością kobiet, ale dodaje, że upominając sie o równe prawa, zrzekają się one swych przymiotów i prawa do jego uwielbienia i sympatyi. (Czy w ten sposób straciła jego sympatye żona, wnuczka W. Hugo. z którą się rozwodzi?)

W ogólności przeważa w tych odpowiedziach zapatrywanie: kobieta ani nie jest niższą, ani wyższą od mężczyzny; jest tylko odmienną.

Kraj.

Z beletrystyki angielskiej.

(*Hall Caine. — Grant Allen.*)

W promieniach wschodzących słońc prądy literackie wysechają na piaskach lub zaprzepaszczają w świeżych wód potokach, szkoły rozpadają jak domki z kart, teorye i ideały legają na śmieciach. Ewolucyom czasu stawia jedynie skutecznie czoło granitowy talent i z tego punktu widzenia pisarze dzielą się tylko na dwie kategorye: utalentowanych i nieutalentowanych.

Zwycięzcą Kronosa nie okaże się z pewnością najpopularniejszy bodaj w Anglii powieściopisarz Hall Caine. Podczas, gdy sfera umysłowego high-life'a nowym bóstwom znosi myrę i kadzidło, szerokie koła czytelników, stojące na przegniłym szczeblu duchowym z przed ćwierć wieka, łowią uchem w bibliotekach echa z dni ubiegłych, nad któremi ludzkość, rej wodząca, przeszła do porządku dziennego. Wprawdzie książka jest w każdym domu angielskim tak koniecznym pokarmem jak beefsteak i whisky, lecz nic dziwnego, że masy ślimaczym tylko krokiem posuwają się naprzód po gościńcu, wydeptanym krwawemi stopami przez wielkie wojownicze umysły. Tej Beocyi ulubieńcem jest autor „Syna Wyspy Mau“, powieści, która ujrzawszy się na półkach księgarskich w roku zeszłym rozeszła się, jak stary ser, w mnogich edycyach po kraju.

„The Mauxman“ jest jedną z tych koncepcyi, preparowanych według ścisłej recepty literackiej, o których krytyka nic nie mówi nagannego, bo wychodzą z pod pióra czytanego chciwie autora. Nie składa także dytyrambów, bo książka nie inspiruje nawet do klejenia dwu wierszy na karmelki. W końcu dopiero znajdzie się sumienny krytyk, który powie, co myśli i na takiego natrafił pan Hall Caine w osobie pana Gainsborough, na którego autorytet możemy się powołać.

W prowincyonalnym światku wysepki spotykamy dwóch młodych krewnych i przyjaciół Piotra i Filipa, z których pierwszy, dzięki zdeklarowanej głupocie, nie ma żadnej wady a drugi, mędrszy, — zakochuje się w kochance tegoż Kate, której najmilszem zadaniem jest wodzenie chłopaków za nos. Zapoznajemy się także z bardzo czarnego charakteru bogaczem, którego naturalnym synem jest Piotr, dalej z gderliwym ojcem Kate, młynarzem i wielu innymi budującemi kreaturami. Jeden wypadek goni drugi, ale autor, do Szekspira podobny (ale tylko z fizyognomii) i wielce z tego dumny, nie odkłada pióra wcześniej nim Numa, mimo wszystkie obstakle, nie wychodzi za Pompiliusza, a cnota nie odnosi walnego zwycięstwa, quod erat demonstrandum. Niestety, szablonowe charaktery nie zaciekawią czytelnika, który, według słów pewnego wybitnego krytyka, szuka w powieści „szerszego studyum z życia“. Wypadki spływają po czytelniku z szybkością kaskady po skale, nie przynosząc nic w ogólnych zarysach nieprzewidzianego, ani nawet sensacyjnego. Próżno szukałby czytelnik pięknego obrazowania lub zgrabnych dyalogów; nie ma tu miejsca na szczegóły, a talentu na epigramatyczne lub charakterystyczne rozmowy. Na domiar, obeznani dokładnie ze stosunkami lokalnemi zapewniają, że postacie w powieści nie mają nic wspólnego z rzeczywistem światem, a wyżej wspomniany krytyk odmawia autorowi nawet poprawności stylu. Zatem literacka wartość tej popularnej powieści równa się zeru.

„Literatura jest krową, którą tak długo doi się za pieniądze, aż nie daje samej wody“ — mówi Heine, a słowa jego znajdują zupełne zastosowanie do szczęśliwego autora, któremu woda doskonałe przynosi zyski i w dodatku rozgłos. Trudno atoli odmówić panu Hall Caine umiejętności dojenia swej krowy. Z pominięciem stylu nie można mu odmówić znajomości rzemiosła; powieści jego cechuje prawidłowa technika, co uderza tem więcej, że pisma mierzy na łokcie. Jednakże zaleta ta bynajmniej nie daje klucza do zrozumienia wielkiego powodzenia. Czemże ono się tłomaczy?

Ludzkość wznosi pomniki nietylko za to, co ktoś zrobi, lecz za to, czego nie zrobił. Otóż w przekonaniu sfery, wagę uznania dzierżącą w dłoni, byłoby brzydkiem postępkiem, gdyby autor zmuszał ją do myślenia. Myślenie bowiem nie każdemu służy. Samoistność, zakrój umysłu filozoficznego, poglądy społeczne, wszystko to balast, dobry dla — balonów, ale nie pisarzy, którzy za życia pragną widzieć się oprawieni w złocone ramki, bo ogół przebaczyć gotów wszystko, prócz — wyższości. Wprawdzie są talenty, które mimo wszystko zdołały wkraść się w łaski mas, wydrzeć im palmę i kiesę złota, ale tajemnicy ich powodzenia szukać należy w tej okoliczności, że, jakkolwiek wierni swemu ideałowi, nolens volens, rzucili smaczny kąsek na przynętę galeryi. Jakoż Zola zapuścił na te wody pornograficzną wędkę, a Ibsen blaguje zagadkowością swej dyalektyki. Obserwacya życiowa i psychologia mas potwierdza, że jeźli pióro autorskie nie powiada pewnych właściwości, któreby przemawiały śpiewnie po niemuzykalnej Beocyi, wzbraniając się zawrzeć z nią kompromis, żadnej krytyki hymny pochwalne nie wydobędą go z egipskich ciemności, w których przed okiem świata często ukrywają się perły umysłu i dyamenty talentu. Dlatego to miernoty jeżdżą powozami po zabłoconych ulicach, a geniusze chodzą pieszo — w podartych butach!

Jaskrawo oświetlił stosunki piśmiennicze zasłużony essayista i powieściopisarz p. Grant Allen, swą świeżo wydaną powieść p. t. „The Woman who did — takim charakterystycznym na wstępie opatrując dopiskiem:

„Pisałem w Perugii w r. 93-cim, starając się zaspokoić po raz pierwszy w mem życiu wyłącznie mój własny smak i moje sumienie.“

Wymowne wyznanie! Po tylu latach niezmordowanej działalności ogłasza obecnie dopiero utwór, w którym jest zupełnie szczerym. Szczęśliwy! Ileż bowiem naliczyćby się dało w szeregach bractwa literackiego takich, którzy nigdy nie złożyli na papierze swych myśli przędzy i szczerych uczuć kwiatów w obawie, aby im nie przyszło sypiać na idealnej przędzy a jadać same kwiaty. Szczęśliwy! Iluż bowiem jest takich, którzy nie mają się z czego spowiadać!

Niekoniecznie jest zrozumiałem, dla czego poplecznik teoryi Fryderyka Nietzschego i kreator t. z. Neo-Hedonizmu dopiero teraz ogłosił powieść tego pokroju, bo przed ukazaniem się „Kobiety, która się na to zdobyła“, zdobył się cały szereg pisarzy obojga płci na prace beletrystyczne, w których bohaterowie zdobyli się na odwagę, aby cisnąć rękawicę instytucyi małżeństwa bez zdobycia sińca z strony czytelników i paszportu do czeluści piekielnych dla szczerych autorów. Jak to uwydatnia się w jego essayach, p. Grant Allen lubi przybierać po-

---

HRABIA LEW TOŁSTOJ.

BEZCZYNNOŚĆ.

(Tłum. **H. St.**)

(Dokończenie.)

Wszystkie wielkie przemiany w życiu jednostki i ludzkości całej rozpoczynają i dokonują się przez reformę myśli. Bo chociaż zajdą zewnętrzne przemiany w życiu ludzkiem — choć ludzie głośno będą o przemianach uczuć i czynów — to jednakże życie ich nie przeobrazi się póty, póki nie przeobrażą się ich myśli. Lecz z chwilą, kiedy się myśli przeobrażą, to prędzej czy później, w miarę doniosłości tej przemiany, musi także nastąpić przemiana w uczuciach i czynach, tak, jak za obrotem steru, następuje obrót okrętu.

Chrystus nie nauczał początkowo temi słowy: to, a to czyńcie, zmieńcie takie a takie uczucia, — nie, on powiedział ludziom: „zmieńcie myśli wasze“, wejdźcie w siebie, zmieńcie wasze pojmowanie życia. On nie powiedział na wstępie ludziom: „kochajcie się na wzajem“ — tę myśl wyraził dopiero później uczniom swoim, którzy już pojęli jego naukę, — lecz odezwał się do nich na wzór Jana Chrzciciela: „czyńcie pokutę“, t. j. wejdźcie w siebie, zmieńcie pojęcia życiowe, zmieńcie myśli wasze, bo zgubę sobie niesiecie. — Chrystus nauczał: „Cel życia naszego nie powinien li tylko polegać na szukaniu dobra własnego lub ograniczonej liczby osób, ponieważ to dobro, które trzebaby zdobywać ze szkodą innych ludzi, rodzin, narodów, (szukających to samo temi sami środkami), niechybnie wiedzie do upadku. Życie winno być pełnieniem woli tego, który nas do życia powołał, — który żąda od was, byście nie swoim, lecz jego celom służyli, a cele te polegają na zgodzie i miłości wszelkiego stworzenia, — na założeniu państwa niebieskiego, gdzie miecz na lemiesz, włócznie na sierpy przerobione będą, — gdzie, według słów proroka, lew z jagnięciem obok siebie zgodnie leżeć będą. Zmieńcie wasze pojmowanie życia, bo zginiecie wszyscy“. Tak Chrystus nauczał. Lecz ludzie nie słuchali Chrystusa, nie zmienili w onczas swych pojęć o życiu. — Właśnie to fałszywe pojmowanie życia, nie porzucone, mimo komplikacyi form życiowych i rozwoju myśli ludzkiej jest przyczyną, że ludzie miłości nie czynią choć uważają ją za rzecz zbawienną, za prawo Boże, za prawo życiowe. Bo jakież może człowiek, mający li tylko dobro osobiste, dobro rodziny lub narodu na celu, to dobro, które zdobywa dopiero po zaciętej walce z drugim, również spółubiegającym się o nie człowiekiem, pokochać szczerze tych, którzy mu stoją zawsze na zawadzie, których zgubić musi, by dojść do celu?

Aby nastąpić mogła przemiana uczuć i czynów, musi nastąpić przemiana myśli, aby zaś myśli przemienić się mogły, musi człowiek zastanowić się i wytężyć uwagę swoją ku temu, co pojąć powinien. Ludzie, biegnący ku przepaści wśród krzyku i warczenia kół — powinni przedewszystkiem przystanąć, aby dosłyszeć rady zbawienne tych, którzy ocalić ich pragną. Bo jakżeż może człowiek zmienić swe myśli i pojęcia o życiu, jeżeli właśnie na podstawie tego fałszywego pojęcia o życiu (w dodatku zachęcany do tego przez fałszywych proroków) — bezustannie pracy się oddaje? Społeczeństwo świata chrześciańskiego znajduje się w położeniu ludzi, którzy męczą się popychaniem lekkiego ciężaru, a to tylko z tego powodu, że w pośpiechu, nie mogąc porozumieć się wzajemnie, każdy z nich popycha ów ciężar w przeciwnym kierunku. Ludzie dawnych czasów, nieświadomi nędzy życia pogańskiego, nieświadomi dobrodziejstw, jakie wypływają z miłości, — mogli, prowadząc krwawe wojny, wymierzając kary śmierci i trudniąc się niewolą, bronić się różnemi argumentami, ktore ich pchały do podobnych czynów, — lecz my w ten sposób bronić się nie możemy. Ludzie dzisiejsi mogą wieść życie na sposób pogański, lecz nie mogą

stawę wynalazcy wynalezionych wynalazków. Dość, że występuje tu jako propagator wyprowadzenia kobiet z niewoli małżeńskiej.

Herminia Bartau i Alan Merrick pokochują się. Widocznie takie wypadki chodzić będą nawet po jutrzejszych.

„Zatem, moja droga — pyta młody i zacny adwokat — kiedyż weźmiemy ślub?“

Na te nieoczekiwane słowa (mówi autor) z ust takiego mężczyzny, rumieniec wstydu i zgrozy oblał lica Herminii.

„Przenigdy! — zawołała stanowczo, odsuwając się od niego. O! cóż myślisz sobie przy tem słowie?! Nie wyznawaj mi, że po mych usiłowaniach wpojenia w ciebie mych poglądów i ideałów, mogłeś na chwilę przypuszczać, że zgodzę się, aby wziąść z tobą — *ślub!*“

Młody człowiek spoglądał na nią z wielkiem zdziwieniem — mówi pan Grant Allen.

Zaiste czytelnik z równie wielkiem zdziwieniem spogląda na córkę pastora, w pierwszej chwili nie mogąc nawet opanować wielkiego śmiechu.

Czy widział już kto bowiem z państwa pannę, która na takie grzeczne zapytanie piecze raka z wstydu i zgrozy? Naturalnie nie ma tu autor na myśli anachronicznego rumieńca, jaki skrasiłby oblicze sielankowej Dafne — w księżycowej powieści, dla niższych pensyonatów panien przeznaczonej. Przypuszczam, że istnieją w Anglii niewiasty, które tak zagadnięte, odpowiedziałyby: Poco robić sobie niepotrzebne koszta? Ślub, to głupstwo! Lepiej spraw mi brylantowy garnitur! Przypuszczam, że wszystkie rumieniłyby się pod śniegami pudru — z radości. Nawet powieściopisarki, piszące się na modłę pana G. A., gdyby im zaproponować ślub — po polsku, nie tylko zrozumiałyby, ale pięknie podziękowały, zgadzając, albo nie zgadzając, ale zawsze pełne radości. Atoli nie mogę wyobrazić sobie, jak wygląda istota, która uważa pytanie takieza obelgę. Na domiar autor, który wejrzał głęboko w teorye dziedziczności, wywodzi rodowód Herminii od pastora, który niewątpliwie wędrował przykładnie do ołtarza, równie jak jego protoplaści.

Jednakże autor nie maluje nam kobiety jaką jest, będzie lub być może, lecz jakąby widzieć pragnął. Interesująca bohaterka przeto wychodzi z pod jego pióra zbyt nieziemską, zbyt do dogmatu naciągniętą.

„Małżeństwo — mówi Herminia — jest zatwierdzeniem hegemonii mężczyzny nad kobietą, przykuwając ją do niego na całe życie, ignorując jej indywidualność. Zmusza ją zaręczać za to, czego żadne ludzkie serce zagwarantować nie może. Można bowiem ręczyć kontraktowo, że się czegoś nie zrobi, lub coś zrobi, lecz zobowięzywać się, że się będzie żywiło jakie uczucia lub nie — cóż za przejrzyste absurdum! Jeżeli wogóle kocham, muszę kochać na podstawie zupełnej wolności!“

Alan zgadza się z nią w teoryi, ale nie rozumie, jak da się ona zastosować w praktyce. Na przeprowadzenie tej teoryi zdobyła się Herminia.

Pierwsze i ostatnie zdanie jej credo nastręcza świetną sposobność do kruszenia kopii z autorem. Mianowicie zasadnicza kwestya zupełnej wolności, na której opiera się teorya Herminii, jest tak zawikłaną i sprzeczną, że — w tem stuleciu poruszać jej nie warto.

Ażeby przeto nie podledz indywidualności Alana, Herminia wzbrania się zamieszkać z nim pod jednym dachem, co, uwzględniwszy nawet zupełnie jej pogląd, zda się przejrzystem absurdum. Naprzód indywidualność Herminii jest nieskończenie silniejszą i raczej Alan mógł obawiać się pantofla, który go też oczwiście nie minął. Zresztą tam, gdzie jest miłość, nieuchronnem jest starcie indywidualności. Wspólne pożycie byłoby prędzej spowodowało kompromis i ocaliło ich od innych mniej zaszczytnych kompromisów z światem. Herminia stawia bowiem siebie i męża w fałszywem położeniu, jak wykazuje się w czasie ich podróży do Perugii, gdzie zmuszeni są uciekać się do kłamstw i wybiegów.

Autor myślący zwykle w abstrakcyi, zapomina, że jest niepodobieństwem, aby dwie w jakimbądź do siebie stojące stosunku osoby nie uroniły z biegiem czasu ani źdźbła z swego „ja“. Stosunek miłosny, z którego obie indywidualności wychodzą nietknięte, jest li tylko zwierzęcym.

Punkt ten pozornie podrzędny nabiera w świetle tej teoryi ogromnej wagi, tak ogromnej, że nie da się rozwinąć pokrótce.

Najciekawszem zagadnięciem jest, jakie fazy przechodzi ich indywidualność w życiu późniejszem i jak ukształtowuje ich pożycie. Autor wszakże zapuszcza na to zasłonę i każe umrzeć Alanowi krótko przed przyjściem na świat córki.

Herminia powraca do Londynu, „fabrykuje“ artykuły do pism, oddając się wychowaniu dziecka, w którem spodziewa się ujrzeć „istotę przeznaczoną do odrodzenia ludzkości“. Dziwnem się zdaje, że jest ona tak silnie o tem przeświadczoną, że w ciągu wielu lat ani na chwilę nie przychodzi jej na myśl, że może być inaczej. Dziwniejszem jeszcze, że ta silna, wzniosła i szlachetna Herminia, dumna, że nie poniżyła się do kontraktu ślubnego, nie wtajemnicza w swe teorye tej przyszłej odrodzicielki ludzkości. Lecz pozbawiłby nas autor wielce dramatycznej sceny, w której zakochana córka ciska w twarz matki, że nielegalizując ślubem jej urodzenia, zatamowała jej drogę do zamążpójścia. Ostatecznie okoliczność ta nie staje na przeszkodzie związkowi, bo narzeczony zamyka na to oczy, lecz Dolly, czując się istotą pohańbioną, wzbrania się przyjąć jego rękę. Pseudo — szlachetność ta na koszt matki, unieszczęśliwa Herminię do tego stopnia, że zrozpaczona odbiera sobie życie.

Jako obyczajowe studyum, ujawniające śmiały pogląd na najdonioślejszą kwestyą organizacyi społecznej, powieść nie zdaje się opartą na nauce i prowadzi do wręcz przeciwnej konkluzyi. Ażeby wypróbować racyonalność małżeństw, opartych tylko na miłości i wykonać ich wyższość ponad związkami kontraktowemi, należało w pierwszym rzędzie mieć na uwadze, że wolne związki mają być zastósowane do wszystkich, a nie wyłącznie do jednostek wyższych, wyjątkowo żyjących duszą. Można było zatem oczekiwać, że autor odmaluje nam przeciętnych i zupełnie normalne istoty. Niemniej należało wykazać, że wolne związki pozostaną jedynie godną formą małżeńską nawet wówczas, gdy nienormalne, lub zzwierzęcone osobniki będą istniały bez poszkodowania siebie, wyłamując się z pod tego prawa.

Z drugiej strony p. G. A. postępuje jednostronnie, bo atakuje instytucyą małżeńską na podstawie licznych wypadków, które wyrobiły przekonanie, że małżeństwo nie daje szczęścia, ignorując zupełnie całą seryą motywów, które instytucyę tą sankcyonowały, a dziś dostarczają broni wrogom jego teoryi. Masy ludności bowiem odczuwają instynktownie potrzebę ślubów formalnych jakiejbądź natury, nietylko dla tego, że opierają się na tradycyi, lecz także z pobudek rozumowych i poniekąd etycznych. Nie zdając sobie sprawy dla czego małżeńskie kontrakty istnieją, autor czyni ujmę swemu pamfletowi.

Cóż bowiem udowodnił? Że dwoje wyższych ludzi może żyć bez formalnego ślubu bardzo szczęśliwie — przez siedem miesięcy. Tu eksperyment kończy się. Cóż byłoby się stało, gdyby jedna z dwojga osób chciała zerwać związek, znudziwszy się lub zająwszy kim innym? Na to nie ma odpowiedzi.

Atoli autor, wyświetlając stosunek matki

---

tego już usprawiedliwiać. Niech tylko ludzie dzisiejsi, przystaną na chwilę w wyścigu pracy, aby zastanowić się mogli nad swem położeniem, a przekonają się, że ich czyny stoją w zupełnej, o pomstę do nieba wołającej sprzeczności z ich sumieniem, rozumem i sercem. Zapytajmy się tylko z osobna każdego współczesnego człowieka, podług jakich kieruje się zasad lub jakie zasady uznaje, to każdy z nich, bez wyjątku, odpowie, że rządzi się, jeśli nie miłością, to w każdym razie sprawiedliwością, — że osobiście uznaje naukę Chrystusa, lub oparte na niej świeckie prawo moralności, — lecz, że poddaje się obecnym warunkom życiowym dla tego, że one potrzebne są dla innych ludzi. — Zapytajmy się o to samo, jednego, drugiego, trzeciego, a zawsze jednakowo brzmiącą otrzymamy odpowiedź. Sądząc ludzi według ich teoryi, to większość ich żyłaby po chrześciańsku, — lecz przypatrzmy się tylko, jak żyją w rzeczywistości, a przekonamy się, że naśladują życie zwierząt dzikich.

Większość zatem ludzi wiedzie życie pogańskie, nie dla tego, że je tak wieść pragnie, lecz że urządzenie życia być może potrzebne niegdyś dla ludzi o całkiem innych ideach, pozostało to samo.

Ludzie powinni koniecznie, chociażby tylko na czas jakiś, zaprzestać czynić to, co zaleca Zola i jego rzekomi przeciwnicy, którzy pod pozorem powolnego i ciągłego postępu pragną utrzymać dzisiejszy porządek świata, winni zaprzestać ogłuszać się fałszywemi wyznaniami wiary, a przedewszystkiem tą ustawiczną pracą nad tworzeniem dzieł różnych, którym sumienie ich odmawia uznania, a przekonaliby się łatwo, że cel ich życia nie powinien polegać na złudnem dążeniu do szczęścia jednostki, rodziny, narodu lub państwa, lecz że jedynym, rozumnym celem jest ten, który już przed 1800 laty objawiła nauka Chrystusowa. Uczta już gotowa, wszyscy na nią zaproszeni jesteśmy; ale cóż, nikt nie ma czasu. Jeden kupuje dobra, drugi się żeni, trzeci buduje kolej żelazną, czwarty zakłada fabryki, piąty zajęty jest misyą w Indyach, Chinach lub Japonii, szósty kupuje woły, inni znowu prawią mowy, kazania, przeprowadzają lub odrzucają Bill Homerule, lub jakieś prawo wojskowe, ten składa egzamina, tamten pisze dzieła uczone, słowem wszyscy pracują, a nikt nie ma czasu przyjść do opamiętania, zastanowić się nad sobą i nad światem i zapytać się: Co ja czynię? Po co to czynię? Czyżby ta siła, która zrodziła mnie z przymiotami miłości i rozumu, obdarzyła mnie niemi na to tylko, żebym oszukiwał, żebym w szalonej pogoni za urojonem szczęściem rozporządzał według własnego widzimisię życiem własnem i życiem drugich i przyszedł w końcu do przekonania, że im więcej się wysilam w tym kierunku, tem gorzej dzieje się mnie, mojej rodzinie, memu narodowi, że im mniej czynię zadość postulatom miłości i rozumu, które mi są wrodzone, tem więcej oddalam się od prawdziwego szczęścia. Toż niemożliwem jest, aby te właściwości duszy mojej tylko dla tego spoczywały we mnie, aby ciążyć jak okowy więzienne, i przeszkadzać w osiągnięciu celu! Przeto nic prostszego nad to, że ta siła, która mnie stworzyła, nie na to dała mi rozum i miłość, bym osięgał cele przypadkowe, chwilowe, sprzeczne z zamiarami drugiej istoty — co zresztą siła uczynić nie mogła, ponieważ stworzyła mnie, zanim istniały moje zamiary, lecz na to, żeby własny swój cel osięgnąć za pomocą zasadniczych właściwości duszy mojej. Czy nie byłoby zatem lepiej dla mnie, żebym, zamiast trwać uporczywie w pełnieniu własnej woli, woli innych ludzi, przeciwników tych najwznioślejszych przymiotów, wtrącających mnie w nędzę, wziął sobie za cel życia pełnienie zawsze i wszędzie woli tego, który mnie stworzył i nie dając się zdurzyć żadnym kombinacyom, li tylko szedł za wskazówkami rozumu i miłości — tych przymiotów, któremi Bóg obdarzył serce moje na to tylko, żeby pełnić Jego wolę. Takie jest chrześciańskie pojęcie o życiu. Żeby urzeczywistnić Królestwo Boże, koniecznem jest, aby wszyscy ludzie, bez względu na osobę, rodzinę naród pokochali się wzajemnie; chcąc się pokochać wzajemnie, muszą ludzie zmienić swe życie, a żeby życie ich zmienić się mogło, muszą przyjść do opamiętania; żeby zaś przyjść do opamiętania, muszą choćby na krótki czas zaprzestać tej gorączkowej pracy, zaprzestać tej zabiegliwości życiowej, którą Jndowie nazywają „*Ssanssare*“, i która jest największą przeszkodą do zrozumienia celu istnienia. Nędzota życia pogańskiego i rozwój chrześciańskiej świadomości rozwinęły się w naszych czasach do tego stopnia, że ludzie potrzebują tylko zaprzestać tej ciągłej krzątaniny, a niebawem przekonają się o nie-

i córki, porusze konsekwencya wolnego związku, stawiając nas w obliczu innej, ze względów praktycznych najdonioślejszej kwestyi. Tak długo bowiem jak chodzi tylko o parę kochanków rzecz jest prostą, z praktycznego punktu widzenia. Jako ludzie dorośli muszą ponosić następstwa swego kroku. Z chwilą wszakże, gdy ze związku wynika potomstwo, a rodzice obstają przy wyłamywaniu się z pod obecnych praw pisanych i niepisanych, dysponują za istotę trzecią. Wprawdzie charakter Dolly jest skrajny, naciągnięty dla wywołania efektu dramatycznego i w życiu podobne starcie się matki z córką i zmierzenie dwojga przeciwnych teoryi wyglądałoby zupełnie inaczej, lecz można przyjąć za normę, że nielegalizując urodzenia dziecka, rodzice narażają je na stratę tej lub owej natury. Nasuwa się tu zatem wielce ciekawe pytanie, co dla rodziców powinno być droższem, ideał czy dziecko?

Przenosząc teoryą nad dziecko rodzice postępują samolubnie, bo teorya może być dla nich świętą, lecz dziecko powinno być świętszem. Goethe mówi:

Grau ist jede Theorie.
Grün ist nur des Lebens Baum.

Nie żyjemy z teoryami lecz z ludźmi, a najświetniejsza teorya nie warta świetnego człowieka. Wprawdzie zaprzeć się siebie jest dla duszy podniosłej bolesnem poświęceniem, lecz Herminia miłująca gorąco swą teoryą, równie serdecznie kocha córkę. Jeżeli zaś formalności ślubne są w jej przekonaniu absurdem, dlaczegoż nie zrobić tego absurdum dla dobra ukochanego dziecka. Zresztą w łańcuchu czynów ludzkich takie mnóstwo znajdzie się absurdów, że zaiste o jedno mniej lub więcej nie chodzi i lepiej mniejsze absurdum zamienić na większe. Taką odpowiedź dałby na to pytanie objektywny człowiek, dla którego wobec realnego życia teorya, abstrakcya jest czemś niepochwytnem. Tak rozumowałby każdy subjektywny czytelnik, dla którego ideał Herminii jest niesympatycznym i niezrozumiałym. Z chwilą wszakże, gdy uogólniając kwestyą tę jeszcze więcej, obcy ideał zastąpi czytelnik własnym n. p. swem credo politycznem, wówczas bodaj rozstrzygając pomiędzy ideałem a dzieckiem, da pierwszeństwo pierwszemu. Z tego zaś wynika, że Herminia pozostając wierną sobie, postąpiła dobrze. Jednakże nie uzasadnia to bynajmniej jeszcze racyonalności wolnego związku. Niefortunna fabuła nasuwa tyle wątpliwości, że zamiast przekonać kogo do wolnego związku, autor ostrzega przed nim.

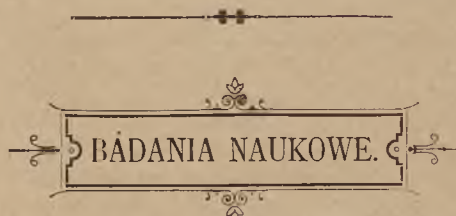
Mimo to wszystko, powieść zasługuje na powszechną uwagę, chociażby dla tego, że wieje z niej rzadki u powieściopisarzy zapał i gorąca miłość ideału. Długie rozprawy przeto nie nużą lecz wynoszą czytelnika ponad prochy ziemskie, świetnego dostarczając pokarmu umysłowego. Czem wyżej kto sięga, tem więcej wystawia się na pociski, lecz objektywna i sprawiedliwa krytyka, która z pominięciem swych własnych ideałów winna być gotową dać się przekonać, chociaż argumentacyą pana Grant Allen uzna za niewystarczającą a nawet fałszywą, odróżni dzieło sztuki od literackiej tandety pana Hall Caine.

Szczerości nikt nie odmówi autorowi „Kobiety, która się na to zdobyła.“ Otóż bowiem pisarz, który nigdy nie schlebiał swym ziomkom, w takich słowach opisuje swego bohatera:

„Alan był *tylko* anglikiem, posiadającym znaną angielską cnotę — umiarkowanie, popychające go do kompromisu, dzięki któremu Anglia jest Anglią t. j. najobrzedniejszym, (chabbiest), najpospolitszym (sorvidest) i najgorzej zorganizowanym z narodów.“

Być może, ale umiarkowanie i wolność zawierania kompromisów ma także swą dobrą stronę, ujawniającą się chociażby w tem, że umożebnia anglikom patrzeć na teorye i gorzkie wyznania pana Grant Allen spokojnem okiem i że nikt dotąd nie zdradził chęci ukamienowania go za nie.

Nobody.



O ruchu etycznym.*)

Szkic historyczno-filozoficzny.

„Jeśli się Wam nie podoba, com powiedział, niechajże Wam się podoba to, czegom nie powiedział.“
Paweł Lauterbach „Aegineten“.

W zamierzchłej jeszcze starożytności, kiedy na szczytach Olimpu płynęły dni szczęścia i wesela, kiedy bogowie, niezbyt dużo rządami świata się zajmując, tem więcej za to poswięcali czasu szumnym, egoistycznym biesiadom, kiedy jęki dolatujące z ziemi przebrzmiewały bezskutecznie wśród szału, czerpanego z pełnych kielichów nektaru, na ziemi odzywały się gdzie niegdzie głosy myślicieli wątpiących, wypowiadających posłuszeństwo owym wiecznie młodym, boskim miłośnikom używania i rozkoszy. Sofiści ze stanowiska teoryi poznania ograniczali horyzont wiedzy ludzkiej, niezdolnej — według ich twierdzenia — do zbadania tajemnic, głoszonych przez kapłanów. Epikur znowu bojaźń przed gniewem bogów uważał za okoliczność mącącą spokój duchowy i równowagę umysłową ludzi. Lecz sofiści nie pragnęli zastąpić wiary moralnością, bowiem i na nią przez pryzmat sceptycyzmu patrzyli, Epikur zaś na miejsce wierzeń ludowych stawiał pojęcia o bóstwach, które w jego mniemaniu, ideał szczęścia urzeczywistnić miały. Wprawdzie cynicy i stoicy uczyli, że cnota jest jedynem dobrem, lecz szkoła cyników upatrywała w cnocie środek przypodobania się, bóstwu, a panteizm Heraklita był podstawą filozofii stoickiej.

W równie zamierzchłej epoce przeczył Buddha świętym księgom Vedy, wystąpił przeciw naukom Brahmy, oraz przepisom dogmatycznym i hierarchicznym, zastępując je wyższemi i szlachetniejszemi zasadami etycznemi. Jednak i Buddha przyjął w odmiennej formie dużo z tego, co początkowo zwalczał i negował. Etyczny porządek wszechświata oparł na wierze w opatrzność, której wyroki z pokorą przyjmować należy, pocieszając się nadzieją nirwany.

Lecz owych walk ducha ludzkiego, pragnącego prawdy i światłości nie możemy jeszcze określić mianem ruchu etycznego lub moralistycznego we właściwem tego słowa znaczeniu, bowiem ruch ten zasadza się na dążeniu do zastąpienia wierzeń moralnością.

Dopiero uwolniona z więzów średniowiecznego scholastycyzmu myśl filozoficzna, która spowodowała odrodzenie nauk, przygotowała także pośrednio grunt dla zajmującego nas tu ruchu. Już Spinoza uczył, że moralnych przymiotów istoty najwyższej udowodnić nie można, nauki tej jednak krytycznie nie uzasadnił, wskutek czego nie miała ona widocznego i trwałego wpływu na pobudki działalności ludzkiej. Inni filozofowie i myśliciele, jak Loeke, Leibnitz, Lessing itd. zgadzali się w poglądzie, że pojęcia bóstwa jako etycznie idealnej istototy z przyczyn moralnych negować nie należy, choć z drugiej strony właśnie naukami swemi wiarę w pojęcie to osłabiali. Stanowisko tych myślicieli słusznie nazywa Edward Hartmann moralizmem religijnym. Od moralizmu tego do moralizmu w naszem rozumieniu był już tylko krok jeden. Uczynił go Kant, odkrywając jasno dualizm między rozumem czystym, teoretycznym a praktycznym.

*) Przy przedstawieniu historycznego rozwoju tego ruchu w poszczególnych państwach i narodach, korzystamy przedewszystkiem z dzieła dr. Marcina Keibla p. t. „Uprawnienie wierzeń wobec nowoczesnego moralizmu“ (nakładem księgarni C. E. M. Pfeffera w Lipsku).

---

dorzeczności działalności swojej i pojęcie chrześciańskie z taką koniecznością rozwinie się w ich umysłach, jak koniecznie wody stojące ściąć się muszą pod działaniem mrozu.

Niech tylko ludzie przyswoją sobie to pojęcie o życiu, a miłość dla bliźnich, dla wszystkich ludzi, dla wszystkiego, co żyje, — miłość dziś jeszcze ukryta uwidoczni się w całej ich działalności, i stanie się podstawą wszystkich ich czynów, tak jak dziś w ich pogańskiem pojęciu o życiu miłość ujawnia się wyłącznie względem siebie, rodziny, narodu. Niech tylko rozbudzi się w ludziach miłość chrześciańska, a niebawem, bez najmniejszego wysiłku, zetrą się zużyte formy życiowe i nastaną nowe formy, których brak obecnie nie dozwala osiągnąć ludziom tego, czego domaga się od nich rozum i serce. Gdyby ludzie setną część swej energii, którą zużywają obecnie ku osiągnięciu różnych korzyści materyalnych, co nieuprawnione niczem przyćmiewają właśnie ich lepsze zrozumienie życia, skierowali ku wyjaśnieniu pojęć swoich i pełnieniu tego, czego ono od nich żąda, to Królestwo Boże nakazane nam przez Chrystusa, byłoby zbudowanem łatwiej i prędzej niż myślimy, a ludzie znaleźliby zbawienie, które im jest obiecanem.

Chciejcie tylko posiąść prawdę i Królestwo Boże — a reszta daną wam będzie!

Helena Ceysinger.

DO CELU.

Z podań ludowych.

U podnóża wysokich, podniebnych gór leżała sobie wioska cicha, jasna od promieni słońca, które, jakby upodobawszy ją szczególnie, od wschodu do zachodu złociło ją promieniami swemi. I choć tam czasem chmury błękit zaćmiły, to tylko na chwilę, to jakby na żart tylko, a potem znowu wracała pogoda i jasność i cisza. Dobrze w niej było ludziom. Na szczyty gór wdzierać się, po skałach piąć, brzegami przepaści błądzić nie potrzebowali, bo dokoła nich pola leżały żyzne i łąki pełne traw i ziela.

A zresztą, w te góry, co ścianą posępną, wyniosłą stały przed nimi, zapuszczać się, strach było wielki. Bo tam w wąwozach dziwy się przechadzały skrzydlate, straszydła siedziały na skałach, z jaskiń wyzierały ogniste ślepia smoków i zgubiony na zawsze był ten, komu przyszła ochota zawędrować między jary przepaściste, między zaklęte potoki, pędzące kaskadami ze skały na skałę, między wierzchołki śnieżne, ponure i dumne jak starcy z białemi brodami. Ha, te wierzchołki zwłaszcza! Biada śmiałkowi, co odważył się deptać śnieżne ich korony! Brały go wtedy panny białe między siebie, otaczały dokoła i nęciły mglistym muszlinem swych szat i wiodły daleko, daleko aż nad brzeg przepaści. A kiedy wpadł nieszczęsny i głowę o dno jej roztrzaskał, zawisały nad brzegiem i chwiejne, rozwiane, tajemnicze, patrzały w jego grób.

Na najwyższym szczycie tych gór, na szczycie, którego nigdy oko ludzkie nie widziało, bo był wiecznie chmurami czarnemi spowity, mieszkał czarnoksiężniki, czyli, jak drudzy mówili, duch gór. W chmurach miał zamek swój zaczarowany; czasem w dzień bardzo jasny i pogodny widzieć można było jego wieżyce. Bywali też ludzie, którzy o północy, kiedy już miesiąc schował się za góry, widywali tam, u samego szczytu postać potężną, olbrzymią, nieludzką. Bali się ludzie w stronę tę spoglądać. Kto czarnoksiężnika raz ujrzał, nie żył długo.

Aż jednego dnia, po zachodzie słońca, czerwoność się wielka rozlała po niebie i z chmur czarnych, wiszących u szczytu góry wyszedł czarnoksiężnik i stał ludziom wszystkim na oczach i widziała go wioska cała, jak rękę, niby z groźbą, ku nim wyciągał.

A w tem zamgliło się niebo, postać złowróżbną zakryły chmury i zwolna spuszczać się zaczęły ku dołowi, aż zeszły w niziny i nad

udowadniając błędność dotychczasowych argumentów o istnieniu bóstwa i wykazując niemożliwość pozytywnego na to dowodu. Konsekwencye krytyki czystego rozumu łatwo przewidzieć się dały, a coraz bardziej postępujący rozwój nauk przyczynił się do nader szybkiego rozkrzewienia się tych konsekwencyi. Kosmologiczna teorya Kanta *) i Laplace'a **), geologiczne teorye Lyell'a †), w końcu teorye Darwina ††) o doborze naturalnym, przemianie gatunków i pochodzeniu człowieka i ich zastosowanie do historycznego rozwoju społeczności ludzkiej †††) zniszczyły ostatecznie dotychczasowy światopogląd deistyczny. W miarę też postępu tych nauk, widzimy budzący się właściwy ruch moralistyczny, chwilowo przez burzliwe stosunki polityczne w pierwszej połowie naszego stulecia przyciszony, a rozrastający się nader szybko i bujnie, stosownie do bezprzykładnej ewolucyi wiedzy w ostatnich dziesiątkach lat.

Od stu lat tedy dopiero mniej więcej ruch ten swój początek bierze. Przewrot umysłowy, który przygotował wielką rewolucyą francuzką, unosił się już nad kołyską myśli, wypowiedzianej przez Helwecyusza w roku 1773 w dziele o człowieku i wychowaniu jego: *„La morale fondée sur des principes vrais, est la seule vraie religion.“* „Gdzież jest — woła on — prawdziwa tolerancya? — tam, gdzie nie ma dogmatu, albo tam, gdzie, jak u filozofów, jest zdrowa i prawdziwa moralność. Ta ostatnia będzie kiedyś religią świata.“

Z pośredniej może inicyatywy Helwecyusza Francya staje się kolebką właściwego ruchu etycznego. *Stany* jeneralne w r. 1789 postanawiają zniesienie prerogatyw *stanu* duchownego i zamknięcie kościołów; w dalszym ciągu kalendarz republikański, zaczynający się z dniem 21 września 1792, jako z dniem otwarcia konwentu narodowego zastępuje kalendarz chrześcijanski; w miejsce imion i świąt chrześcijańskich wchodzą w użycie imiona pogańskie i obchody świąt cywilnych. Za staraniem Anacharsisa Cloots'a zaprowadzonym zostaje kult bogini rozumu, której pierwsze święto naród francuzki obchodzi w dniu 20 Brumaire (10 listopada) 1793, w następnych zaś miesiącach uroczystość ta w całej rzeczypospolitej bywa powtarzaną. Szał ten trwał jednak dość krótko. Na posiedzeniu z 7 maja 1794 uchwala konwent narodowy wniosek Robespierre'a następującej osnowy:

1) Naród francuzki uznaje istnienie najwyższej istoty i nieśmiertelność duszy.

2) Stwierdza, że wypełnianie obowiązków ludzkich jest kultem godnym najwyższej istoty.

3) Żąda zaprowadzenia uroczystości dla zwrócenia myśli ludzkiej ku bóstwu.

W dniu 8 lipca 1794 odprawia Robespierre, jako najwyższy kapłan, święto najwyższej istoty, przy którem pali z kartonu wyrobione karykatury ateizmu, nienawiści i egoizmu, podczas gdy z ognia wznoszą się sporządzone z materyi niezapalnej wizerunki Najwyższej Istoty, Mądrości i Sprawiedliwości. Ten przyjazny religii kierunek przetrwał śmierć Robespierre'a; w r. 1795 dozwolono nawet ponownego wykonywania dawnych obrządków, a lud masami napływał do starych świątyń. Teofilantropizm Robespierre'a trwał jeszcze tylko przez czas krótki; za czasów dyrektoryatu zwolennicy jego rozporządzają jeszcze dziesięciu kościołami w Paryżu, lecz takowe już w roku 1802 przez konsulów zostają im odebrane.

Dopiero po upływie lat sześćdziesięciu organizuje się znowu moralizm francuzki. Około roku 1865 spotykamy czasopisma, jak w Paryżu: „La Rive gauche“, „Le Candide“, „Le Démocrate“, „La Libre Pensée“, „La Pensée Nouvelle“, „L'Athee“, redagowane przez Eudes'a, Regnard'a, Condereau'a, Asseline'a i Henryka Place'a. W Marsylii redaguje Royannez „L'ami du poeuple“, w Lyonie Jules Frantz „Le Refusé“, a Denis Brack „'Excommunié.“ W miastach tych powstają też odnośne stowarzyszenia, szczególnie wśród ludności *najmickiej*. Lecz i te zarodki mało wydają plonu, częścią z powodu wrogiego stanowiska, jakie wobec nich zajmują rządy Napoleona III częścią z powodu zamieszek wynikłych z wojny niemiecko-francuzkiej. W mniejszych tylko miastach, jak Lille, Havre itd. usiłowania owe jako tako utrzymać się dają. Po dalszym dopiero dziesiątku lat Leo Taxil zakłada czasopismo „L'Anticlerical“, przeciw katolicyzmowi zwrócone, a Lepelletier i Meunier w czasopismach „La Marseillaise“ i „Le Rappel“ propagują idee „wiary cywilnej“ i „wolnej myśli“. W roku 1880 powstają znowu stowarzyszenia w dzielnicach robotniczych Paryża, Fours, Nimes, Roubaix, Rheims itd., a organem ich jest paryska „La Libre Pensée“. Obecnie związek moralistów francuzkich obejmuje około 145 towarzystw filialnych, z których 13 znajduje się w Paryżu. Tendencye ich poznać można z rozmaitych przemówień i rozpraw przywódczych. Tak Lecoquière na kongresie w Brukseli w r. 1880 jako delegat z Paryża mówi: „Pragniemy nie tylko zniszczenia dogmatów i zabobonu, same wierzenia zniszczyć pragniemy“. Tamże oświadcza Boichot, delegat czwartego okręgu Paryża: „Absolut i cuda znikają; zastępuje je nauka i rozum. Lecz nie wystarcza, by człowiek miał wiedzę, musi też posiadać zmysł moralny. Kształcenie obyczajów i charakteru człowieka, wyszlachetnianie jego uczuć i wzmacnianie jego myślenia, jest tak samo obowiązkiem, jak rozwijanie jego rozumu“. A w dziewięć lat później kongres paryzki przyjmuje wniosek Schacre'a, delegata stowarzyszenia „Voltaire“ w Tours, brzmiący *): „Wierzenia są niemoralne, ponieważ zmuszają nas do wyrzeczenia się rozumu, do ślepego posłuszeństwa i samozaparcia się, uczciwe zaś postępowanie opierają na nadziei wynagrodzenia i obawie przed karą. Należy tedy uczyć moralności wolnej od wyobrażeń nadzmysłowych“. Organami związku są: wydawany przez radę centralną: „Bulletin mensuel“, „L'Autonomie“, redagowana przez A. de Okecki i w końcu „La Vérité Philosophique“, na której czele stoi C. Cilwa. Także część wolnomularzy francuzkich liczy się do zwolenników moralizmu, do którego z wybitnych myślicieli i polityków francuzkich należeli również F. M. Bérard, Gambetta, Paweł Beut itd., z nowszych zaś — Vogué, Edward Rod, Pierre Lasserre i Paweł Desjardins. Ten ostatni w broszurze p. t.: „Le devoir présent“ powiada, że przyczyna choroby naszego wieku, a więc przyczyna ogólnego niezadowolenia i zwątpienia moralnego, tkwi w ogromnej pożądliwości wrażeń (sensations), któremi całe społeczeństwa wyłącznie prawie żyją. Człowiek dzisiejszy dąży jedynie do wysubtelnienia swoich zmysłów, do wykształcenia swego „ja“, tak dalece, aby zdolnem było odczuwać wszelkie zewnętrzne podniety. Wskutek tego człowiek współczesny staje się wprawdzie bardzo zajmującym, ale biernym przedmiotem, rodzajem harfy eolskiej, za lada podmuchem dźwięczącej. Odpowiedzialności za objawy odruchowe, wywoływane w nim przez przypadki zewnętrzne nie uznaje zgoła żadnej — *poczucie obowiązku zamarło w nim zupełnie.*

Broszura wspomniana osnutą jest na dwóch myślach przewodnich: pierwsza wypowiada wiarę w kapłaństwo intelektualne jednostek jak Epiktet, Marek Aureliusz, św. Paweł, św. Augustyn i św. Wincenty à Paulo, druga — przekonanie o uprawnieniu warstw umysłowo i materyalnie upośledzonych do wszystkich zdobyczy duchowych. Desjardins odrzuca ortodoksyjną stronę dotychczasowych wierzeń, przyjmując jedynie

*) Kant: Allgemeine Naturgeschichte und Theorie des Himmels, 1755.

**) Laplace: Exposition du systeme du Monde, 1796.

†) Lyall: Principles of geology, 1830,

††) Darwin: On the origin of species, 1859. The descent of man 1871.

†††) H. Spencer: The data of ethies, 1879; Principles of sociology, 1876 Bagehot; Les lois scientifiques du developpement des nations, 1873. Albert Schafne: Bau und Leben des socialen Korpers. 1878.

*) Por. Bulletin du congrès de libres penseurs à Paris, 1889, par E. Pasquier.

---

wioską cichą, jasną, rozpostarły szarą zasłonę. Nastała noc ciężka, ponura, noc przeczuć i drzeń niewysłowionych. Potem przyszedł ranek, ala nie jasny, pogodny jak codzień. Na polach leżały mgły grube, słońce przez chmury świeciło jakimś strasznym, czerwonym blaskiem, co ani światła, ani radości nie dawał.

I ścisnęły się trwogą serca ludzi. Cóż to za dni dla nich nadejść miały? I dowiedzieli się niezadługo. To z tej, to z tamtej chaty wybiegała matka zapłakana, drżąca i powiadała, że dziecko jej umarło tej nocy, albo kona, albo zachorowało ciężko. Zaraza padła na wieś. A dziwna to była choroba, bo nie zabierała starców, tylko młodzież niedorosłą i dzieci. Umierali z niej młodzieńcy pełni sił, gasły dziewczęta kwitnące, dzieci w objęciach matek konały. Niewiasty stare szeptać zaczęły pomiędzy sobą, że to wielkiego czarnoksiężnika gniew padł na wieś, że to ztamtąd, z odwiecznie chmurnego szczytu, od pałacu jego idą na nią te mgły nieprzebite i ta klątwa straszna. Chmurno było wciąż, przez mgły gęste widać było słońce czerwone, przygasłe. W powietrzu cisza panowała złowroga. I tylko nocami, od czasu do czasu zrywały się burze straszliwe. Huczały jękiem przeciągłym pioruny, błyskawicową chmurą krwawiło się niebo, wicher szalał i wył w konarach drzew. Temi nocami strasznemi najwięcej dziatek marło po chatach, a nazajutrz rankiem mglistym, wilgotnym, ponurym, widać było na mokrej drodze wioskowej postrząsane wiatrem liście z drzew, przy chatach połamane krzaki róż, a na progach matki płaczące z trupami dziecięcemi w objęciach.

I zaczęli gadać starcy, że złego ducha gór ofiarą dobrowolną przebłagać trzeba, że musi jeden z młodych pójść tam, gdzie bielą się śniegi wieczyste, gdzie chmury wieńczą szczyt, tam wysoko, aż do pałacu czarnoksiężnika i oddać się jemu. Duch gór tak chce. I niewiadomo, z czyich ust słowa te wyszły po raz pierwszy, ale wnet szeptem powtarzać je zaczęła wioska cała i wszyscy czuli, że tak być musi. A starcy smutnie kiwali głowami: Kto pójdzie? Kto zwycięży po drodze przeszkody, niebezpieczeństwa, pokusy, kto nie ulęknie się straszydeł i widm, kto pannom białym w przepaść zaciągnąć się nie da? I kto, kto strasznemu duchowi gór na męki wieczyste zaprzedać się zechce?

We wiosce było wciąż cicho i posępnie jak w grobie. Umierali młodzi, ale w góry zaklęte nie chciał iść żaden. Lepiej umrzeć — mówili.

Aż raz, młodzieniec pewien stanął na środku wioski i ogłosił, że udaje się na szczyt mglistej góry, do pałacu czarnoksiężnika. Zbiegli się doń ludzie z całej wsi, a on powiadał im, że miał sen, że widział czarnoksiężnika, który ku niemu, wyraźnie ku niemu ramię olbrzymie wyciągał, więc poznał, że jemu to przeznaczono przebłagać okrutnego ducha gór. Mówił to wszystko z twarzą wesołą, swobodną, jak ten, który nie lęka się śmierci, ani życia młodego na ofiarę żałuje. Bledli ludzie słuchając go i potrząsali głowami. Byli tacy, co odradzali mu, mówiąc: nie dojdziesz. Ale on uśmiechał się na to i tego samego dnia przed wieczorem wyruszył.

Trzy miłości zostawił za sobą: matkę starą, niewidomą, dziewczynę młodą i piękną i skrzypkę, ukochanie swoje najmilsze — i poszedł. Kiedy odchodził, płynęły łzy z pod przymkniętych na zawsze powiek starej matki, łamała ręce jasnowłosa dziewczyna, a skrzypka, hej! jemu się tylko śniło pewno, że mu skrzypka na pożegnanie zagrała sama piosenkę taką rzewną i smutną, a śliczną, że odejść nie miał siły, tylko stał i słuchał, Ale zerwał się w końcu, skrzypkę raz ostatni przycisnął do serca, potem odrzucił precz od siebie i poszedł. Noc się nad nim opuściła czarna, bez gwiazd i bez miesiąca. Po skałach tu i owdzie błyskały dziwne, tajemnicze płomyki. On szedł wciąż przed siebie, wciąż w górę, a groza i lęk szły z nim.

Nieraz widno zrobiło mu się w oczach. Przed nim na skale biały ogień płonął wysoki, a przy ogniu starzec-straszydło przesypywał chudemi rękami stosy złota i pokazywał je młodzieńcowi i kiwał nań i kusił, a w świetle płomienia złoto skrzyło się oślepiającym bla-

wspaniałe ich strony etyczne; nie pragnie sekty na wzór St. Simonistów, lecz raczej chce stowarzyszenia pomocy moralnej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



KRONIKA WIEDENSKA

Wiedeń, dnia 12. marca 1895.

(*Parlament.. — Pogłoski — Rada ministrów. — Misya kardynała Schoenborna. — „Die Zeit“ i genealogia rodziny ministra Madeyskiego.*)

Między Scyllą a Charybdą znajduje się obecnie większość rządząca Austryą. Nigdy jeszcze nie zebrało się razem tyle co teraz zawikłanych spraw, których rozwiązanie musi nastąpić koniecznie, chociażby nawet do zmiany ministerstwa przyjść miało. Przedewszystkiem sprawa reformy wyborczej, jaką zajął się subkomitet szukający dla wszystkich partyi stosownego jej załatwienia, czeka na światło dzienne bez względu na Koło Polskie i jego dla niej odporne stanowisko. Korona, to jest sam Cesarz życzy sobie jej załatwienia i to jeszcze w tej sesyi parlamentarnej. Drugim ważnym punktem do usunięcia jest sprawa słoweńskiego gimnazyum w Cilli. Hrabia Hohenwart, przewódzca partyi słoweńskiej, skoalicyonowanej z Kołem Polskiem i niemiecką lewicą, zażądał tego gimnazyum, pod grozą wystąpienia z koalicyi, — sprzymierzona zaś lewica niemiecka, uważa takie gimnazyum za ustępstwo dla Słowian i niechce żadną miarą przychylić się do takich zachcianek. Naturalnie Koło Polskie, względnie minister Madeyski, pomimo że początkowo w budżet wstawił potrzebną sumę, dzisiaj cofa się pod presyą Niemców i ztąd nieporozumienie faktyczne. Do tych dwóch, przybył trzeci powód obawy o dotychczasowy rząd, t. j. załatwienie reformy podatkowej, którą znowu protegują Niemcy, a przeciw której stoi klub Hohenwarta z Polakami, broniąc rolnictwa przed przemysłem. Dość, że koalicya sama w sobie jątrzy się i szuka wyjścia z zaklętego labiryntu ustępstw wzajemnych i żądań coraz to nowych i większych. Wczoraj Cesarz zwołał radę ministrów, sam jej przewodnicząc. Wywołało to wiele zajęcia i wiele pogłosek się w mieście z tego powodu rozeszło. Mówiono o rezygnacyi ministra oświaty Madeyskiego, który oprócz gimnazyum w Cilli ma do zwalczania ciągłe zaczepki ze strony antysemitów w sprawie forytowania swego zięcia, młodego Dunajewskiego, oraz spowinowaconego z sobą swego wicesekretarza, Dra. Rosnera. Poseł Schneider (antysemita) bawił nawet w tych dniach w Krakowie, dla zebrania dowodów obciążających ministra, a zebrawszy takowe zamyśla wraz z posłem Luegerem uderzyć na jednem z posiedzeń w Madeyskiego. Pomagają mu w tym względzie „die Christlich-Socialen“, którzy nie mogą Madeyskiemu darować wystąpienia przeciw księdzu Scheicherowi, Pogłoski o rezygnacyi Madeyskiego, Jaworskiego i prezydenta ministrów Windisch-Graetza, na razie nie mają podstawy. Owszem, stanowisko pierwszego wzmocniło się nawet w ostatnich dniach, a wyraz temu dało Koło Polskie na bankiecie, oświadczając, że z nim i jego czynnościami zupełnie się solidaryzuje. Na zakończenie bankietu minister Madeyski wypił „kochajmy się.“ W ten sposób ma być wszystko załatwione.

Wiadomo Wam, że antisemityzm i chrześcijański-socyalizm kolosalne w Austryi czyni postępy. Aby temu zapobiedz, starają się żydzi i sprzymierzeni z nimi liberalni wszystkiemi siłami i sposobami wywołać antiagitacyę ze strony Korony i Stolicy Apostolskiej. W tym też celu wysłano z Wiednia do Watykanu kardynała Schönborna (brat ministra sprawiedliwości), który miał u tronu Papieża wyjaśnić ruch antisemicki i wyprosić cofnięcie, względnie nie udzielanie dalszych błogosławieństw towarzystwom socyalno chrześciańskim. Podobno, jak zapewniają pisma, misya kardynała upadła i powraca bardzo niezadowolony do tych, którzy go wysłali. Antysemici i książe Lichtenstein tryumfują.

Wszystkie tu przytoczone sprawy podgryzają ustawicznie rządzącą większość czyli „koalicyę“, a najgłówniejszą jej chorobą jest; Reforma wyborcza. „Koalicya“ musi wynaleźć dla niej odpowiedni „*modus virendi*“, ponieważ rząd posiada w ręku sposób na zmuszenie jej do tego, mianowicie może rozwiązać Parlament i rozpisać nowe wybory dla pozyskania sobie większości, o czem z resztą była mowa na radzie ministrów.

Doskonale redagowane, ale nadzwyczaj zjadliwe i bezwzględne tutejsze pismo tygodniowe „Die Zeit“ podaje w ostatnim numerze artykuł dotyczący całej spokrewnionej familii ministrów. Były minister Dunajewski ożenił syna z córką ministra Madeyskiego. Zięć więc jest protegowany i na wielkiem stanowisku w ministerstwie handlu z tytułem „*Staathaltereirath*“. Siostra Dunajewskiego, byłego ministra, jest żoną bibliotekarza i znanego bibliografa Estreichera. Córka tegoż jest za profesorem gimnazyalnym Kulczyńskim. Ten został dyrektorem, dostał Franz-Josephsorden i wykłada w uniwersytecie Jagiellońskim jako przyszły *in spe* profesor. Druga córka Estreichera wyszła za dr. Rosnera, zwanego „Coalitionsnichte“, — tenże został wicesekretarzem ministeryum oświaty, będąc przedtem zwykłym kandydatem notaryalnym. Ojciec jego został przez Madeyskiego mianowany profesorem zwyczajnym uniwersytetu Jagiellońskiego a brat jego przed dwoma tygodniami docentem ginekologii. Syn Estreichera, 25-letni młodzieniec, uzyskał przed tygodniem nominacyą na docenta prawa niemieckiego z pewnym widokiem na profesora, mając przedtem w tym celu dane sobie stypendyum 1000 złr. na ośm miesięcy studyów w Lipsku. I tak dalej; całe spokrewnione domy i rodziny są wymienione, które za czasów Dunajewskiego, obecnie Madeyskiego awansują, dostają posady i zapewnienie bytu. Takie artykuły i takie genealogie poniewierają stanowiskiem i powagą ministra, a w kołach parlamentarnych dają się słyszeć głosy: kiedy minister Madeyski uzna wreszcie za stosowne i „*sam zrezygnuje?*“ Koło Polskie w obec tego wszystkiego ma twardy orzech do zgryzienia, bo rządząc niechce być przez inne partye parlamentarnej koalicyi rządzone, — i chcąc niechcąc, musi się ze swymi ministrami solidaryzować. Sytuacya bardzo więc naprężona.

Xi.

O prawde.

— Pan *dr. Kusztelan* prosi nas o zamieszczenie następującego sprostowania:

„W ostatnich dwóch numerach „Przeglądu Poznańskiego“ spotkał niżej podpisanego zarzut, że przy sposobności wyborów na członków dyrekcyi i delegatów obwodu asekuracyjnego Północno-niemieckiego Tow. asekuracyjnego od gradobicia przeważył, przy równej ilości członków Polaków i Niemców, szalę na korzyść niemiecką, dając głos Niemcowi, a tem samem zerwał solidarność.

W imię prawdy proszę Szanowną Redakcyą o łaskawe zamieszczenie następującego sprostowania:

Dnia 4 grudnia r. z. odbywały się wybory w hotelu Rzymskim, na zebraniu okręgowem powyżej wspomnianego Towarzystwa od gradobicia. Okręg wyborczy obejmował następujące powiaty: babimojski, międzychodzki, międzyrzecki, skwierzyński, nowotomyślski, obornicki, grodziski, poznańskie, szamotulski, śremski i średzki. Tylko członkowie posiadający majątki w tych powiatach i od gradu asekurowani w Towarzystwie mieli prawo do głosowania. Na sali było zebranych 18 osób, 9 Polaków i 9 Niemców. Pomiędzy Niemcami był jeden nie mający prawa do głosowania, tj. zastępca jen. agentury z Torunia; pomiędzy Polakami zaś było dwóch nieuprawnionych do głosowania, tj. zastępca reprezentacacyi poznańskiej i p. N. K. posiadający majątek w obwodzie bydgoskim i to w powiecie wągrowieckim. Było więc uprawnionych do głosowania 8 Niemców i 7 Polaków. Jakkolwiek Niemcy mogli przeprowadzić wszystkich swoich

---

skiem. Ale młodzieniec przeszedł mimo i tylko pogardy uśmiech blady zarysował mu się na ustach. Całym głosem rozśmiało się wtedy straszydło, a śmiech głośny, szyderczy echem powtórzyły skały i zdawało się młodzieńcowi, iż góry całe długi, długi czas urągają djabelskim śmiechem.

Ciemno zrobiło się napowrót dokoła, a on szedł i szedł wciąż przed siebie. Piął się po skałach, czołgał wązkiemi, prostopadłemi ścieżkami, rękami chwytał krzaków i drzew i szedł i szedł. Kamienie poraniły mu stopy, kolczaste ciernie poszarpały dłonie, on piął się wciąż pod górę. I niespodziewanie wyszedł na polanę leśną. Świerki i sosny szumiące otaczały ją w krąg, a środkiem płonęło różnobarwne ognisko, dokoła którego tańczyły lekkie, powiewne dziewice. Gdy przechodził mimo nich obojętny, cichy, rzuciły się ku niemu dziewczęta i zapraszać jęły do tańca. Muskały go włosów rozwianych falą, paliły blaskami źrenic, obietnicą pocałunków gorących wabiły. On szedł dalej pod górę, pod górę wciąż.

Wtedy zastąpiła mu drogę jedna, odmienna od tamtych. Poznał, to jasnowłosa dziewczyna z jego wioski. Odejdź — wymówił tylko pobladłemi usty, i natychmiast rozwiała się we mgłę. On szedł dalej, ale ledwo kroków parę postąpił, usłyszał w dole, pod stopami swemi krzyk jej bolesny i łkanie rozpaczy.

Poznał. To znowu jego dziewczęcia głos. Już chciał cofnąć się na dół, biedz jej z pomocą, ale zatrzymał się, stanął. Łkanie przechodziło w jęk konania, w skargę ostatnią, w płacz cichy. On stał z twarzą w rękach ukrytą, słuchał i nie drgnął, a kiedy ton ucichł ostatni, zaczął znowu skrwawionemi dłońmi wdzierać się na skałę. Upadał ze znużenia, podnosił się i szedł dalej, dalej przed siebie, do szczytu, tam w chmury. Już go widzi przed sobą, już też i mgły otaczają go coraz gęstsze, i droga coraz niedostępniejsza, coraz bardziej spadzista i stroma. Przed sobą ma ścianę skalistą, u dołu przepaść, otchłań, głębię. A z tej otchłani idzie ku niemu śpiew rzewny, znany od dawna. To skrzypka jego tak gra. Nachylił się młodzieniec i słucha, a tony coraz miększe, coraz przenikliwsze, ciągną duszę jego w przepaść zawrotną. Hej, skoczyć w głąb, tam, gdzie pieśń ta dźwięczy!

Nie, on do góry, do góry piąć się musi! Żegnaj piosnko, piosnko ukochana!

I z nową siłą rzuca się w górę. Pot rosi mu czoło, pierś dysze, ręce spływają krwią. Znużenie ogarniać zaczyna młodzieńca. Przystanął chwilę i widzi: Panny białe płyną ku niemu. Spuszczają się ze szczytów mgliste jak marzenie, białe jak śnieżny puch i chłodnem, wilgotnem tchnieniem studzą mu rozpalone czoło, koją spieczone usta, poszarpane stopy i dłonie. Dobrze mu w ich objęciu. Senność go ogarnia. Chciałby położyć się na skale i usnąć nakryty białymi zwojami ich szat. Już kładzie głowę znużoną, przymyka powieki.... już... już...

Nie! On na szczyt wedrzeć się musi! Duchowi gór oddać się musi w ręce! Ranek już! I zrywa się chłopiec znużony i ostatkiem sił pnie pod górę. Krew napływa mu do głowy, mgłą zachodzą oczy, pierś faluje... a tam z góry, z chmurnego szczytu, w nagrodę wszystkich wysiłków wyciąga się po niego ramię potworne, olbrzymie... Młodzieniec zamknął oczy i otworzył je znowu po raz ostatni i spojrzał... Tam w dole na zielonem tle pól leżała wioska jego. O Boże! Boże! chmur już nad nią nie było! Rozproszyły się mgły grube, złowrogie, przeklęte; słońce napowrót w blaski złote ją przybrało i świeciła białością swoich chat, jaśniała z dala szczęścia wielkiego wyrazem. I uśmiechnął się chłopiec i śmiał się jeszcze, kiedy zbliżało się ku niemu ramię potworne, olbrzymie....

wybory wypadły, jak następuje: p. radzca ziemski Grassmann z Koninka został wybrany dyrektorem, pan poseł Głębocki z Czerlejna zastępcą dyrektora, p. Niegolewski delegatem (? Przyp. Red.), a p. Senftleben ze Śremu zastępcą delegata.

Procedura wyborów była następująca:

Przewodniczący p. Grassmann zapytuje wybranych, czy się godzą na wybór proponowanego dotychczasowego dyrektora. Gdy z obecnych nikt opozycyi nie podniósł, ogłosił, że wybór przyjmuje i przystąpił do głosowania nad zastępcą dyrektora. Tu zabiera głos p. Niegolewski i powiada dosłownie: „Życzymy sobie, aby ktoś z naszych był wybrany“. Przewodniczący odpowiada: „Proponujcie panowie“. Pan Niegolewski proponuje p. Głębockiego i tenże wszystkiemi głosami obecnych został wybrany zastępcą dyrektora. Gdy przewodniczący proklamuje wybór p. Głębockiego, zabiera głos p. Niegolewski i oświadcza: „Zyczymy sobie, aby p. Głębocki był dyrektorem“. Przewodniczący zwraca uwagę, że wybór dyrektora już został dokonany, lecz chętnie ponowny wybór zarządzi i wzywa obecnych, aby swe vota oddali. Za p. Grassmannem głosowało 7 Niemców i 3 Polaków, do których także należałem, a uczyniłem to i dla tego także, aby nie narażać na oczywisty szwank wybór delegatów, gdyż wybór p. Grassmanna był zapewniony już głosami niemieckiemi. Przy wyborze delegatów proponuje p. Głębocki w miejsce dotychczasowego delegata p. Senftlebena p. Niegolewskiego i tenże głosami polskiemi i niemieckiemi wybrany został delegatem (? Przyp. Red.). W końcu wybrano zastępcą delegata p. Senftlebena. Taki oto był przebieg wyborów.

Z uszanowaniem
dr. K u s z t e l a n.“

* * *

Od Redakcyi: Z powodu powyższego sprostowania wystosowaliśmy do korespondenta naszego S. S., jednego z najwybitniejszych i najpoważniejszych obywateli Księstwa Pozn., listowne zapytanie, czy szczegóły zawarte w piśmie p. d. dr. Kusztelana zgodne są z rzeczywistym stanem rzeczy. Na zapytanie to odebraliśmy odpowiedź, że korespodent nasz „*żadnego z uczynionych zarzutów nie cofa, obstając przy autentyczności wszystkich zakomunikowach nam informacyi*“. Nie rozstrzygając na razie kwestyi, po czyjej stronie jest słuszność, do sprawy tej powrócimy niebawem.

NA WYŁOMIE.

(Poznań w ruchu. Teatr i corso. Kółka włościańskie. Kwestya pełnoletności ludu. Czytelnie ludowe. Kilka cyfr. Co czynić?)

W ubiegłym tygodniu Poznań jakieś niezwykłe, nieomal odświętne przybrał oblicze. Starych dywanów wprawdzie z okien nie powywieszano i girlandami nie umajono kamienic, ale plac Wilhelmowski, siłomierz ruchu poznańskiego, wskazywał przyrost ludności, — czarne tablice w hotelowych przedsionkach bieliły się kredowemi literami, — i arystokratyczne loże w teatrze nie wołały o zmiłowanie lodowym głosem pustki przeraźliwej. A tam na wyżanach przybytku Melpomeny tłum chłopów i chłopek polskich w ciemnych sukmanach i „krasnych“ stanikach płakał z radości nad „Obroną Częstochowy“, korzył się przed majestatem Kordeckiego i błogosławił tej, która Jasnągórę otoczyła skrzydłami cudownej opieki.

Corso poznańskie — monotonne zwykle, jak podwórzowe katarynki — zajaśniało tłumem twarzy nieznanych, sumiastych wąsów i czarujących uśmiechów prowincyonalnych piękności. Raz po raz dolatywała uszu moich energiczna klątwa zadyszanego hreczkosieja, to znów cedzona francuzczyzna wiejskiego arystokraty, lub szczebiot srebrny, dzwonkowy tych pięknych pań z wielkiego świata — d e p r o v i n c e. Tak! tydzień ubiegły był tygodniem ruchu i życia, — tygodniem społeczno-narodowego bilansu, którego uwerturę stanowiły odprawione przed kilkunastu dniami rekolekcye „dla mężczyzn“.

Po karnałowych bachanaliach, nie zagłuszonych widmem konającej niepodległości, doczekaliśmy się poważniejszego widowiska na poznańskim bruku; stoimy obecnie w znaku narodowych rachunków, — w znaku walnych zgromadzeń, gdzie Tow. Czytelni ludowych, Pomoc Naukowa, Kółka włościańskie i Centralne Towarzystwo gospodarcze prezentują społeczeństwu roczniki pracy i rozwoju swego.

Dla mnie przedstawiają zawsze największej interesu te instytucye, które na sztandarach swoich wypisały oświatę ludu, — te zgromadzenia, gdzie lud sam przychodzi do głosu i gdzie wsłuchany w słowa jego obliczam bicie serc chłopskich i intenzywność światła rozwidniającego chłopskie umysły. Zasługi p. patrona J a c k o w s k i e g o w tej dziedzinie są nadto znane ogółowi polskiemu, aby na tem miejscu raz jeszcze im pokłon widomy oddawać. Organizacya Kółek włościańskich, to może najjaśniejszy moment naszej pracy organicznej, bo gdy dotychczasowe gwardye narodowe ustępują z pola, nie rzucając nam nawet na pociechę okrzyku Napoleońskich żołnierzy: „Gwardya umrze, ale się nie podda“, tu nowa armja wyrasta z chat pochylonych i mówi więcej, niż pułki Bonapartego pod Lipskiem, bo hasłem jej: „N i e p o d d a m s i ę i n i e u m r ę“.

A jednak witając te zastępy ludu mojego z błogosławieństwem na ustach, nie mogłem oprzeć się dziwnemu wrażeniu. Zdawało mi się chwilami, że znajduję się na egzaminie dzieci szkolnych. Nauczyciele przyprowadzili gromady swoje i prezentują „prymusów“. Najlepsi z uczniów deklamują, recytują, tłomaczą i rachują, a pierwszą rolę grają sami profesorzy, popisując się przed szeroką publicznością pięknym wykładem i pouczaniem, pełniąc rolę g o s p o d a r z y s z k o ł y, chwaląc grzeczne d z i e c i i akcentując silnie rolę wrodzonych opiekunów wobec małoletnich. Nie przeczę, że takie postępowanie było nietylko korzystnem, ale i koniecznem w pierwocinach organizacyi i rozwoju oświaty ludowej, ale dziś pragnąłbym gorąco, aby te lata szkolne uznać za minione — egzamin „maturitatis“ za dokonany. Kółka włościańskie dojrzały już do tego stopnia wiekiem i duchem, że upełnoletnienie ich jest nieodzownem postulatem dalszego rozwoju. W przeciwnym razie spotkać je może los owych dzieci, którym komenda ojcowska tak długo pętała swobodę ruchów, że idą przez życie całe chwiejne i bojaźliwe, lękając się o własnych siłach wykonać najlżejszych poruszeń, szukając wiecznie niespokojnem okiem oparcia i umierając nieodzownie na bezkrwistość chroniczną, bo krwią wszelkich ewolucyjnych żywiołów jest siła inicyatywy, przedsiębiorczość i zaufanie do własnych sił. Dopóki „urodzeni opiekunowie“, żyją i czuwają, nie zazna „maminy synek“ fatalnych skutków wychowania swojego, ale gdy opiekunowie ci oczy kiedyś zamkną, wtedy wychowaniec, za długo na pasku wodzony, stanie bezradny w życiowym zamęcie, — łup wygodny dla wrogów i wyzyskiwaczy. Chłop polski ma na ruinach obecnych przodowników narodu powetować pogrom okrutny, a lękam się, że zadania tego nie spełni dość rychło i dość energicznie, jeżeli z zasadą sztucznej małoletności jego raz wreszcie nie weźmiemy rozbratu. Być może, że dziś jeszcze za rychło pomyśleć o c h ł o p s k i m p a t r o c i e, tem bardziej, że p. Maksymilian Jackowski spełnia obowiązki swoje z zamiłowaniem i poświęceniem, lecz c h ł o p - p a t r o n prędzej czy później stanąć musi na czele kółek włościańskich. Odkładając rozwiązanie tej kwestyi do jutra, dziś już pomyśleć należy o spotęgowaniu samodzielności włościańskiej w obrębie zebrań zwyczajnych i dorocznych zjazdów delegatów. Pragnąłbym, aby na rok przyszły walne zebranie w Poznaniu przemówiło do nas inną, prawdziwie włościańską fizyonomią, aby rolę rzeczywistego gospodarza nie „brat starszy“, lecz lud sam odgrywał, aby z katedry i w dyskusyi mniej „pańskich“ a więcej chłopskich odzywało się głosów.

Nie wypływa z tego bynajmniej, aby złamawszy w wyżej zakreślonych granicach zasadę szkolnej komendy, inteligencya zakładała ręce apatycznie i, spoczywając bezczynnie na laurach, oświatę ludu pozostawiła ludowi samemu. I samodzielna młodzież uniwersytecka, która porzuciła ławy gimnazyalne, ma profesorów swoich, ale są to przyjaciele-doradzcy, nie bony i piastunki. Na inteligencyi wiejskiej i miejskiej ciąży i nadal święty obowiązek usilnej pracy nad chlubnie rozpoczętem dziełem, tylko stosunek „starszych“ do „młodszych“ braci zmieniać się powinien w miarę rozwoju ludowego.

Jeszcze daleko do końca, jeszcze rąk nam opuszczać nie wolno, a przestroga ta ciśnie mi się tem natarczywiej pod pióro, że ostatnie sprawozdanie Towarzystwa Czytelni ludowych za rok 1894 wcale niewesołe wykazuje cyfry. „Walczymy z trudnościami technicznemi i finansowemi, które się coraz więcej piętrzą“, — mówi nam Zarząd w wstępnym artykule. „Nie podołamy im doprawdy, jeźli publiczność nasza nie okaże więcej względności dla potrzeb towarzystwa i jeżeli ogół naszych kolektorów, za chlubnym przykładem czynniejszych, nie zabierze się energicznie do poparcia naszych usiłowań“. — Tej smutnej uwerturze odpowiada w dalszym ciągu sprawozdania szereg cyfr, wyjaśniających składkowe dochody Towarzystwa. Posłuchajmy! Cały powiat międzyrzecki złożył na przestrzeni 1894 r. 5,00 mr., Ostrzeszowski (!) 21,00 Mr., Średzki (!) 31,30 Mr., Strzeliński (!) 10,00 Mr., Wyrzyski 3,00 Mr. (!!) Poznański Wschodni 30,40 Mr.

W rubryce miast figuruje Ostrzeszów z składką całoroczną 3,00 Mr., Zerków 2,00 Mr., Mosina 2,00 Mr., Łopienno 6,00 Mr., Śrem 7,00 Mr., Kostrzyn 10,50 Mr., Ostrów (!) 20,00 Mr., Śmigiel 5,80. I nie dość na tem. Odliczając składki miast powiatowych od powiatów samych, otrzymujemy jeszcze smutniejsze rezultaty. Rdzennie polski powiat Inowrocławski składa 372,45 Mr., a w sumie tej figuruje miasto Inowrocław z pozycyą 343,65 Mr. Cały powiat zatem bez stolicy swojej dostarczył **28,80 Mr.** Powiat Szubski nadsyła 35,00 Mr., a w tem miasto Szubin 31,00 Mr., zostaje zatem na cały powiat bez miasta **4,00 Mr.** Powiat Ostrowski składa 33,57 Mr., a w tem miasto Ostrów 20,00 Mr., zostaje zatem na cały powiat bez miasta **13,57 Mr.** (!) Z zadowoleniem natomiast zapisuję, że miasto Poznań złożyło 920,16 Mr., — smutnem tylko jest to, że suma ta stanowi nieomal piątą część ogólnych składkowych dochodów Towarzystwa.

Gdzie tkwi przyczyna tych niewesołych rezultatów? W maszyneryi organizacyjnej musi być kilkanaście kółek funkcyonujących nieprawidłowo, — w szeregach urzędników Towarzystwa muszą być ludzie, nie sprawujący obowiązków swoich z tem zamiłowaniem, jakiego sprawa bezwarunkowo wymaga. Powinnością Zarządu jest rozciągnąć najbaczniejszą kontrolę nad armią współpracowników swoich i nieudolnych kolektorów usuwać natychmiast. W przeciwnym razie oświadczy nam może znowu sekretarz Towarzystwa, że 40 petycyi o założenie nowych czytelni upaść musiało „dla braku funduszów“.

Sulla.

Z estrady i sceny.

(Koncert Towarzystwa śpiewu pod dyrekcyą prof. Henniga na sali Lamberta dnia 9. marca 1895.)

Zasługi wymienionego Towarzystwa około podniesienia zmysłu i smaku muzycznego w Poznaniu są niezaprzeczalnie wielkie, choć u nas mało znane. Towarzystwo założone w roku 1869 przez obecnego dyrygenta prof. Henniga, pod którego dzielną dyrekcyą bez przerwy dotąd pozostaje, wykonało w czasie swego przeszło 25-letniego istnienia najcenniejsze utwory wokalno-instrumentalnej literatury muzycznej. Dość tu wymienić: *Missa solemnis Beethovena*, muzykę pasyjną do słów św. Mateusza i wielką mszę *h-moll* Bacha, oratoria *Haendla*, *Haydn'a* i *Mendelsohna* i inne nowsze wybitne dzieła, aby wykazać wysokie dążenia Towarzystwa, po

części uwieńczone znakomitym rezultatem. I sobotni koncert należał do najudatniejszych z całego tegorocznego sezonu koncertowego i przyspożył nowy listek do wieńca laurowego, jaki się zasłużonemu i niestrudzonemu kierownikowi jak i całemu Towarzystwu sprawiedliwie należy za ich bezinteresowne, niemałych ofiar wymagające poświęcenie. Na program złożyło się kilka ustępów z cennych dzieł literatury wokalno-instrumentalnej i najpotężniejsze orkiestrowe dzieło nie tylko Beethovena ale w ogóle wszechświatowej literatury muzycznej: *IXa symfonia z chórami do słów Szyllera „Ody do radości“.* Kompozytor zamierzał pierwotnie, i to już w roku 1793, napisać muzykę stósowną do Szyllera Ody. Od zamiaru tego z czasem odstąpił, motywów muzycznych jednak, jakie mu przy komponowaniu Ody fantazya nasunęła, nie zarzucił całkiem, lecz stosując takowe do formy czysto instrumentalnej, napisał symfonię, której przewodnią myślą miały być wrażenia odniesione z czytania poezyi Szyllerowskiej. We Finale są też niektóre zwrotki ody wprost zastósowane i muzykalnie przez kompozytora ilustrowane, mianowicie te, w których poeta opiewa miłość, przyjaźń i braterstwo ludów. Pełne wzniosłości i nastroju nadziemskiego są ustępy, które się odnoszą do Stwórcy. Zwłaszcza muzyka do słów: „nad gwiazdami Jego tron“ brzmi najczystszą harmonią sfer a cichym spływając na naszą duszę szmerem, unosi nas wprost w krainę obcą, którą przeczuwamy tylko. W ścisłem pokrewieństwie do ostatniego ustępu wspaniałego utworu, znajdują się trzy pierwsze, czysto instrumentalne ustępy symfonii. W pierwszej części — *Allegro ma non troppo* — przedstawił nam mistrz zaciętą i tytaniczną walkę, jaką ludzkość z nienawistnym prowadzi losem, jak pragnie zdobyć sobie spokój serca i zapomnieć groźną rzeczywistość. Orkiestra to raz grzmi całą potęgą tonów, to znów płacze i tęskni jakby za rajem utraconym. Scena po scenie mija szybko, mistrz całą skalę uczuć przebiega, odkrywając przed nami całą bezdenną głębię ludzkiego cierpienia. Drugi ustęp — *Scherzo* — to istne „bacchanale“, w którego szalonem *fugato* szuka człowiek zapomnienia i upojenia, chce zapić robaka, co ludzkość gryzie, i jak ten nieszczęsny Moniuszki „Maciek“, smutek swój szałem chce zagłuszyć. Ale i szał nie daje spokoju i w niem nie znajduje człowiek szczęścia. Szuka go więc i odnajduje w modlitwie: *Adagio molto*, które stanowi trzecią część symfonii. Ustęp ten należy do najpiękniejszych Beethovena pomysłów. Nuta każda przesiąkła taką głębią uczucia, każdy zwrot melodyjny taką namaszczony wzniosłością i powagą, przytem harmonia odznacza się taką niezwykłą dźwięcznością, że trudno nam uwierzyć i pojąć, jak to wszystko mógł pisać człowiek, pozbawiony całkiem najważniejszego dla muzyka zmysłu, słuchu. Beethoven pisał utwór ten, dotkniętcałkiem głuchotą, która go od lat wielu trapiła. Nareszcie po cudnej modlitwie następuje wspaniałe Finale, w którem występują po raz pierwszy w złączeniu z orkiestrą głosy ludzkie pojedyńczo i w chórach. O ustępie tym wspomniałem już. Tu tylko dodam, że wykonanie arcytrudnego Finale jak i w ogóle całej symfonii odznaczało się przedewszystkiem wielką precyzyą i starannością, a szczęśliwe uchwycenie przewodniej myśli i godne tejże przeprowadzenie przez wszystkie części utworu świadczyło najlepiej o gruntownem i sumiennem studium dyrygenta i wykonawców. Soliści: pp. Emma Plüddemann z Wrocławia i Klara Schacht z Berlina i pp. Eduard Mann z Drezna i Ernest Hunger z Lipska spełnili trudne i niewdzięczne nieraz swe zadanie, poczęści zadawalniająco a nawet nieraz wybornie; chóry znakomicie się wywiązały i brzmiały nawet w najtrudniejszych miejscach imponująco, ogólny zapał udzielił się orkiestrze i całemu Towarzystwu i dopomógł do szczęśliwego i znakomitego wykonania potężnego poematu muzycznego, który pisany pod koniec życia mistrza jest zarazem najwierniejszem odbiciem całej tak bogatej w cierpienia i zawody duszy kompozytora.

Koncert rozpoczął się właściwie chórem z Brahmsa *Requiem*, w którem sopranowe solo odśpiewała p. Plüddemann. Utwór Brahmsa nie jest pisany do tekstu liturgicznego i nie przeznaczony do użytku kościelnego, Jestto raczej rozpamiętywanie artysty, na swój sposób, nad marnościami i znikomością doczesnego a wartością przyszłego naszego życia. Słowa kompozytor sam zebrał z pisma św. i utworzył muzykę głęboko odczutą. *Requiem* to pisał artysta krótko po śmierci drogiej swej matki. Ustęp wykonany w koncercie odznacza się też nadzwyczaj sympatyczną, za serce wprost chwytającą melodyjnością, która stósownie do słów pocieszająco i uspokająco spływa na serca nasze.

P. Plüddemann odśpiewała solo swe poprawnie, przesadziła tylko zdaniem mojem przeciągłe rozdzielanie świateł i cieni we frazowaniu, co wywołało pewien niepokój, niezgadzający się właściwie z nastrojem utworu. Zresztą posiada śpiewaczka niewielki wprawdzie, ale za to dobrze wyrobiony głos sopranowy. Większy spokój w cieniowaniu byłby nie zaszkodził.

Potem nastąpiły: Arya na bas i Kawatyna z Mendelsohna oratorium: *„Pawel“*. Aryą „Boże bądź miłościw“ odśpiewał p. Hunger bez technicznych usterek, ale trochę zimno i bez głębszego przejęcia się; mała niedyspozycya krtani przeszkadzała mu zapewne w rozwiązaniu całej potęgi głosu. P. Mann odśpiewał z uczuciem, ale trochę cienkim głosikiem kawatynę z Pawła „Bądź wiernym aż do śmierci“. Dobre wrażenie śpiewu psuł nieco suchy akompaniament wiolonczeli: sławną aryą na altowy głos z Bacha pasyjnej muzyki do słów św. Mateusza „Zmiłuj się nademną Boże mój“ odśpiewała p. Klara Schacht z uczuciem i widocznem przejęciem się pięknościami wzniosłego utworu. Solowy akompaniament na skrzypcach w tej kompozycyi objął koncertmistrz wrocławskiej kapeli p. Köhler i wykonał zadowalniająco.

Na zakończenie I. części Koncertu zagrała orkiestra przegrywkę do muzycznego dramatu Wagnera: Trystan i Isolda. Utwór ten posiada wszystkie zalety i błędy Wagnerowskiej muzy a ma przedstawiać muzykalnie miłość w różnych jej przejściach i fazach. Nie łatwa to praca i zadanie dla orkiestry odtworzyć jasno zagmatwaną partycyę i podążać za myślą genialnego poety-kompozytora. Wysokie i trudne zadanie, jakie sobie kapela postawiła i ku zadowolnieniu publiczności zgromadzonej wykonała, najlepiej świadczy o dzielności i zapale wrocławskiej orkiestry, tem więcej, że nie rozporządza pierwszorzędnemi siłami, z wyjątkiem może znakomitego flecisty.

Szkoda wielka, że nasza publiczność muzykalna, albo muzyką się interesująca, tak mało zmysłu objawia do tych poważnych koncertów. Szkoda tem większa, ponieważ to dla nas pod wielu względami mogłoby być wzorem. Naprzód poznalibyśmy utwory wartościowe, jakie każdy inteligentny człowiek powinien się starać poznać, — utwory, które nie są wyłączną własnością narodu niemieckiego, ale całego ucywilizowanego świata. O naszych zaś siłach wykonać utworów tych chwilowo nie możemy. Do tego brak nam odpowiednio wykształconych chórów, brak nam inteligentnego dyrygenta, brak wytrwałości, poświęcenia i zapału, który nieraz cuda tworzy. A gdyby to wszystko ktoś stworzył, to twierdzę ostatecznie, że brak naszej szerszej publiczności zmysłu do wysłuchania takich koncertów. Dość tu uczynić przegląd programów koncertowych naszych kół i kółek śpiewackich, aby dojść do tego rozpaczliwego przekonania. Kształćmy więc chwilowo nasz smak i zmysł na wzorach i utworach c e n n y c h literatury muzycznej tak swojskiej jak i obcej, gdzie tylko okazya po temu się nadarzy, a reszta może się z czasem zmienić na lepsze.

Edwin Jahnke.

KRONIKA POWSZECHNA.

W mieście naszem bawi znana ekonomistka **Dr Zofia Daszyńska**, współpracowniczka „Przeglądu Poznańskiego“.

Wiadomości społeczne i polityczne. Przy obradach nad wnioskiem Koła polskiego w sejmie pruskim o zniesienie komisyi kolonizacnjnej przemawiali kilkakrotnie posłowie ks. dr. prałat Jażdżewski i pan Czarliński. — Niemiecki dziennik „Post“ zamieścił ostry artykuł przeciw ks. arcybiskupowi Stablewskiemu. Artykuł nosi tytuł: „Die Kriegskasse des Erzbischofs von Posen“. — Na walnem zebraniu Tow. Pom. Naukowej Im. Kar. Marcinkowskiego uskarżano się na brak zamiłowania młodzieży naszej do studyów filologcznych. Ks. Kolasiński żądał zaprowadzenia ścisłej kontroli nad stypendyatami w większych miastach uniwersyteckich. Wnioskodawcy oświadczono ze strony zarządu, że postulat ten z względów technicznych jest niewykonalny.

Teatr i muzyka. W ubiegłą sobotę wystawiono na scenie naszej 4-aktową komedyę Pawła Lindaua p. t. „Dwie Eleonory“. Technika sztuki wzorowana na dramatach francuzkich zaleca się w pierwszych dwóch aktach mistrzowskiem zawiązaniem intrygi i stopniowaniem, w dwóch ostatnich aktach natomiast grzeszy rozwlekłością i jednostajnością. W rysunku bohaterów odzywa się, mimo francuzkiego pokostu, niemiecki filister. Grą artystyczną odznaczyli się pp. Trapszo, Sosnowski i Skirmunt, a z kobiet występujących zjednała sobie p. Wróblewska burzę oklasków znakomitą grą w pierwszym i drugim akcie. P. Majdrowiczowa wewiązało się poprawnie ze zadania swojego, podjętego widocznie z wielkim zasobem pracy i staranności. — W ubiegły czwartek wznowiono na scenie naszej wesołą krotochwilę Abrahamowicza i Ruszkowskiego p. t. „Florek“, Z artystów zasługują na serdeczne uznanie pp. Łaski, Trapszo, Jakubowski, Królikowski, Skirmunt i Knapczyński. „Great attraction“ wieczoru stanowiła jednoaktówka Józefa Kościelskiegó p. t. „Na klęczkach“. Jest to śliczna bluetka z czasów rokoka, zalecająca się nie tyle warunkami scenicznemi ile koronkową robotą literacką. Dwie główne role odtworzyli p. Sosnowski i p. Wróblewska. Grę ich cechowała właściwa wytworność i finezya, pamięć tylko nie zawsze dopisywała artystom. — Na scenie poznańskiej ukaże się niebawem dramat Dr. K a r c h o w s k i e g o p. t. N a s c h y ł k u. Autor jest Poznańczykiem. — W ubiegły poniedziałek produkował się z powodzeniem na sali p Adamskiego znany monologista p. Kiciński. Publiczność żywo oklaskiwał jego humorystyczne kreacye. Na wyszczególnienie zasługuje typ „Lichwiarza“ — W przyszły poniedziałek (18. b. m.) odbędzie się na sali Bazarowej wieczór wokalno-humorystyczny pani A d o l f i n y Z i m a j e r i pana A r t u r a Z a w a d z k i e g o. Nie potrzebujemy chyba zachęcać czytelników naszych do udziału w interesującym koncercie, bo sława pani Zimajer, jako pierwszorzędnej gwiazdy operetkowej, rozbrzmiewa na obu półkulach. Pan Artur Zawadzki już przed czterema laty dał się nam poznać jako niepospolicie uzdolniony artysta i autor humorystycznych scen i monologów. Jest on oddawna ulubieńcem publiczności warszawskiej, petersburgskiej, odeskiej, krakowskiej i t. d. a typy stworzone przez niego odznaczają się humorem i prawdą życiową. Sprzedaż biletów, jak słyszeliśmy, postępuje bardzo raźnie. — W Warszawie odbył się raut artystyczny na zasiłek kasy wsparcia nauczycielek i bon. Raut ten utworami talentu swojego uświetnili pp. Chmielowski, Matuszewski, Gawalewicz, Kamieński i Gliński, oraz panie Marrene, Mellerowa i Hajota, — W Warszawie gości od dni kilku trupa ruska w teatrze Wielkim. — Na scenie teatru krakowskiego wystawiono po raz pierwszy znaną u nas sztukę Koziebrodzkiego p. t. „Nauczycielka“. Krytyk „Czasu“ (Ehrenberg) wyraził się o uwieńczonym na konkursie dramacie bardzo ujemnie, zarzucając mu między innemi uderzające powinowactwo z „Dyonizą“ — W berlinskim Schauspielhausie wystawiono z powodzeniem niegraną od lat 60 sztukę Grillparzera p. t. „König Ottokars Gluck und Ende“.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. O. Radzimy polecić a d w o k a t o w i napisanie listu w tej sprawie z żądaniem zwrotu manuskryptów. Redakcya ta słynna jest z niepunktualności i kilkakrotnie już z różnych stron proszono nas o radę w sprawie zaprzepaszczonych rękopisów.

Stała prenumeratorka. Prosimy uprzejmie wybaczyć, ale nadesłany artykuł w małej cząstce zaledwie porusza kwestye ogólnej natury, głównie zaś czepia się osobistości i zagląda w tajemnice życia domowego. Paszport dziennikarskiego wszędobylstwa kończy się tam, gdzie się zaczyna próg domu prywatnego. Wyjątki z tej zasadniczej reguły usprawiedliwić mogą tylko nadzwyczajne okoliczności.

Czytelniczce. „Pontonami“ nazywają płaskie czołna używane do budowy pływających mostów dla operacyi wojskowych. „Ponto“ natomiast jest oznaczeniem hiszpańskiego asa kierowego w l'hombrze. Francuzkie „pointeur“ i hiszpańskie „ponto“ mają oczywiście jeden i ten sam źródłosłów.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Ks proboszcz P. (w miejsce pomnika) 3 mr. — Ogółem zebraliśmy dotyczas 699,75 mr.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

Gimnazyaści poznańscy 24 mr. Ogółem zebraliśmy dotychczas 509,80 mr.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Czas odnowić przedpłatę!

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Ludwik Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 12. Poznań, Niedziela 24go Marca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

WIDMA.

W pamiętniku Koła polskiego w parlamencie niemieckim.

I.

Wieść dziwna idzie po miastach i wsiach prowincyi naszych. Koło polskie w parlamencie niemieckim postanowiło podobno głosować za „ustawą przewrotową“ z uwzględnieniem dodatków, podyktowanych przez katolickiego posła Rintelena. Według naszych informacyi uchwała ostateczna i oficyalna nie zapadła jeszcze, ale „Nieśmierlelni“ lojalizmu polskiego, — owi niezmordowani protektorzy życzeń tronowych, — owi maszyniści zakulisowi, urabiący opinią posłów na dyskretnych schadzkach, — owi fanatycy rządowego katechizmu już zapewnili sobie większość głosów wśród reprezentantów polskich w parlamencie i ze spokojem oczekują decydującej sesyi, która o stanowisku Koła naszego rozstrzygnie. Za prawdopodobieństwem tej zatrważającej wersyi przemawia stanowisko posłów naszych w komisyi, wysadzonej w sprawie „ustawy przewrotowej“, bo trudno nam uwierzyć, aby polscy członkowie tej komisyi hołdowali na własną odpowiedzialność reakcyjnym zakusom. Przypuścić raczej należy, że to polskie „*placet*“, które rozbrzmiewało tylokrotnie w referatach dziennikarskich złowróżbnem echem, podyktowane było nie opinią jednostki, lecz opinią Koła.

Posłowie polscy w parlamencie niemieckim gotowi zatem powtórnie stanąć przeciw większości społeczeństwa polskiego, — gotowi poświęcić najświętsze ideały humanitarne i dobrze zrozumiany interes narodu dla tronowych mamideł, — gotowi uchylić czoła przed ustawą, ktora jest mrokiem stężałym.

Już w roku 1875 pojawił się projekt podobnej ustawy w parlamencie niemieckim, a wończas reprezentanci ludu jednomyślnie nieomal wystąpili przeciw widmu reakcyi. W rzędzie stanowczych przeciwników ówczesnego projektu stanęli również posłowie polscy, protestując w interesie ojczyzny i cywilizacyi przeciw despotycznemu pogwałceniu swobody myśli i słowa. Dziś inne prądy zawiały w tem gronie, które mieni się „wybrańcem“ narodu, a kopie przepaść głęboką między sobą a społeczeństwem, — dziś doczekamy się może godziny, w której przedstawiciele ludu polskiego przyłożą rękę do tego, co pod niewinną etykietą walki z przewrotem stanie się kajdanami i nocą narodu.

„Nowa ustawa nie jest prawem wyjątkowem“, — tak mówią obrońcy reakcyi, — ale twierdzenie to, przybrane w ułudne pozory słuszności, nie wytrzymuje poważnej krytyki. Jeżeli bowiem rząd niemiecki oświadcza, że celem nowego projektu jest „przeciwdziałanie zakusom, zmierzającym do zakłócenia spokoju publicznego“, to nasuwa się natychmiast pytanie, dla czego ową opiekę nad „publicznym spokojem“ w jednym tylko zwrócono kierunku, — dla czego przewrót „z dołu“ otrzymać ma rygle i barjery, a ewentualny przewrót „z góry“ bujać może swobodnie. Dla zrozumienia zarzutu naszego zwracamy uwagę na § 130 rządowego projektu, opiewający, że karze więziennej aż do dwóch lat ten podlegać będzie, kto „*religię, monarchię, małżeństwo, rodzinę i własność obelżywemi* (*beschimpfend*) *orzeczeniami w sposób zagrażający pokojowi* (in Frieden gefährdender Weise) *publicznie zaczepia*“. Nie przeczymy bynajmniej, że instytucye w paragrafie tym wymienione należą do ważnych składników istniejących stosunków prawo-państwowych, ale zapytujemy się, czemu wśród tych składników nie wymieniono: konstytucyi niemieckiej, prawa wyborczego, równości wobec prawa i wiele innych swobód obywatelskich, — czemu ten, kto te najświętsze ideały ludu, zdobyte krwią i życiem tysięcy, zaczepia, piastuje w obliczu prawa przywilej bezkarności, a więzienie zagraża temu kto zwróci się z krytyką namiętną przeciw monarchii lub bieżącym pojęciom własności? Wieje tu zatem duch ustawy wyjątkowej i chyba nikt wątpić nie będzie, że projekt rządowy inną miarę przykłada do tych, którzy krytykują obecny porządek rzeczy, pragnąc coraz szerszego rozwoju stosunków w kierunku liberalnym i demokratycznym, niż do tych, którzy rozwój ten pragną powstrzymać lub cofnąć i gotowi nawet zalecać złamanie konstytucyi dla urzeczywistnienia swoich reakcyjnych dążeń.

Pomijając jednak tę nierówność w obliczu prawa obudzić musi § 130 mimo pozornych zastrzeżeń, poważne wątpliwości. Nie uwzględniając nawet potwornych obostrzeń, wprowadzonych wśród obrad komisyjnych do tego rozdziału rządowego projektu przez reprezentanta stronnictwa centrum, Rintelena, dopatrujemy się w § 130 groźnego niebezpieczeństwa dla swobody myśli ludzkiej i badań naukowych. Pozornie zdawaćby się mogło, że ograniczenia tkwiące we wyrazach: zaczepiać *w sposób zagrażający pokojowi obelżywemi* (*beschimpfend*) *orzeczeniami* religię, monarchię, małżeństwo, rodzinę i własność, jest zbrodnią, podlegającą karze dwuletniego więzienia“, — pozornie zdawaćby się mogło, powtarzamy, że forma paragrafu tego nadużyciom ze strony władz sądowych zakłada skuteczne hamulce. W rzeczy samej jednak tak nie jest.

Pojęcie „obelżywych orzeczeń“ posiada w praktyce sądowej przedziwną elastyczność, a doświadczenie uczy, że często to, co przeciwnik spornej idei uważa za umiarkowaną krytykę, fanatyczny zwolennik tej idei odczuwa jako obelgę. Instytucye wymienione w powyżej cytowanym paragrafie nie są bynajmniej skończoną doskonałością, lecz posiadają przeciwnie poważne strony ujemne, które z natury rzeczy podlegać muszą krytyce. Mówią nam wprawdzie „motywa“, załączone do rządowego projektu, że nikt krytyce nie stanie na przeszkodzie, jeżeli krytyka ta nie zmierza do agitacyjnych celów i unika obelg, — ale czyż każda idea reformacyjna, nie mieści w sobie pierwiastku agitacyjnego, czyż każda proklamacya tej idei nie jest agitacyą, czyż wreszcie w otwartem wyznaniu, że ta lub owa instytucya, uchodząca w oczach wielu za „świętość“, jest bezwartościową lub szkodliwą, nie dopatrzą się obelgi bałwochwalcy krytykowanego przedmiotu? Sędzia niemiecki jest tylko człowiekiem, a nastrojony na jedną społeczno-polityczną nutę, gotów każdą inną za rozdźwięk „obelgi“ poczytać. My Polacy posiadamy interesującą historyą politycznych procesów z Bismarckowskiej ery, a w procesach tych więcej niż gdziekolwiek zamanifestowało się niebezpieczeństwo jurydycznego subjektywizmu na politycznym podkładzie.

Również i drugie ograniczenie rzeczonego paragrafu nie usuwa wątpliwości naszych, bo

lubo paragraf wymierzony jest tylko przeciw takim zaczepkom, które pociągnąć mogą za sobą *„zakłócenie spokoju publicznego“*, to dotychczasowe wyroki sądu rzeszy przekonały nas, że pojęcie owego „zakłócenia“ gnie się i urabia jak wosk. Fakt „zakłócenia“ stwierdzano nawet w takich wypadkach, w których krytyka istniejących urządzeń nie zakłócała *bezpośrednio* spokoju publicznego, lecz tworzyła atmosferę, z której ewentualnie w przyszłości „zakłócenie“ wyłonić się mogło. Taką interpretacyą oczywiście każdą krytykę dosięgnąć można karzącą ręką prawnej ustawy, a rząd niemiecki wyzyskałby ją z pewnością dla „poskromienia“ niewygodnych oponentów.

Nie ulega żadnej wątpliwości że projekt rządowy stanowi hamulec dla poważnej krytyki naukowej, lubo przyznajemy z drugiej strony, że ostrze jego zwraca się przedewszystkim przeciw popularyzacyi nowoczesnej wiedzy. Tam, gdzie plon zebrany przez uczonych, gdzie ideę zrodzoną w mózgu filozofa lub myśliciela, rzuca między tłum szeroki popularyzator, — tam z natury rzeczy forma publikacyi przekroczy z łatwością granice prawa nowego. Uczony pracujący spokojnie w zaciszu cichego ustronia dobierać może zwrotów omijających kolizyę z ustawą rządową, ale dziennikarz, działacz polityczny, mówca ludowy, skazany na posługiwanie się formą przystępną i efektowną, nie mający czasu na szukanie ostrożnych słówek i osłonek, pracujący gorączkowo wśród zgiełku aktualnego życia, staje się ofiarą paragrafu, wiszącego jak miecz Damoklesa nad jego głową. I o jednem jeszcze zapominać nie wolno. Nie prasie jedynie lecz szerokim tłumom zagraża nowa ustawa, bo dziennikarz rutynowany prędzej jeszcze ominie szkopuły prawne niż ten wygodny, nie wyćwiczony w gimnastyce stylowej obywatel, który po ciężkiej pracy bawi się w publicznym lokalu w politykę lub filozofją i z swadą i rozmachem proklamuje w obec grona towarzyszy kufla lub kieliszka swoje, często bardzo radykalne teorye. Któż najwięcej cierpi pod obuchem prawa dotyczącego obrazy majestatu? Czy uczony rewolucyonista, czepiający się monarchicznego systemu, czy pan *Quidde* wojujący tak „uczenie“ z cesarzem niemieckim, czy dziennikarz urągający nieraz między wierszami tronowi? Przejrzyjcie statystykę wyroków. Nam się wydaje, że największy procent skazanych o obrazę majestatu rekrutuje się z wielkiego tłumu ludzi prostych i nie „wyćwiczonych.“ Ta analogia stanowi groźne „Memento“. Nowa ustawa rządowa z ludu brać będzie ofiary swoje.

I cóż zresztą osiegnie ten słynny paragraf 130? Czyż powstrzyma ferment i opozycyę w masach szerokich, czyż sparaliżuje literaturę niewygodną? Nie! to, o czem dzisiaj głośno się mówi bezkarnie, zamieni się w szept ponętny, bo osłonięty urokiem tajemniczości. Z rynków publicznych cofnie się opozycya w „kółka zamknięte“, w związki i schadzki tajemne. Niecenzuralna literatura krążyć zacznie z rąk do rąk sekretnie, a tłum pochłaniać ją będzie tem chciwiej. Jest to polityka „małych środeczków“, polityka „śpileczek“ którą rząd pruski znowu prowadzić zaczyna, a posłuży ona chyba ku temu, że sprawi raz po raz drobną satysfakcyę sferom, rozgoryczonym zuchwałą opozycyą, że spotęguje liczbę denuncyantów i wykarmi w społeczeństwie obłudę.

Rząd niemiecki wyraża w nowej ustawie pragnienie, aby istniejący ustrój państwowy zasłonić szczelnie przed powiewem ostrzejszej krytyki, i gdyby projekt stał się prawem obowiązującem, nastąpiłaby era szykan niemiłosiernych i gry najniższych instynktów. Mamyż przy każdem swobodniejszym słowie stawiać sobie trwożne pytanie, czy przypadkiem opinje nasze nie są obelgą własności, małżeństwa, religii lub monarchii, czy przypadkiem nie „narażają spokoju publicznego?“ Nie potrzeba być socyalistą, tylko człowiekiem zasad humanitarnych, dla którego swoboda myśli jest więcej niż przebrzmiałym frazesem, marnem świcidełkiem lub *zbytecznym* prawem, aby zaprotestować energicznie przeciw tendencyom rządu niemieckiego. Na szczęście losy, których w komisyi doznał paragraf 130, pozwalają wróżyć, że cios śmiertelny oczekuje go również w plenum parlamentu, gdyby wnioskodawcy pokusić się mieli o powtórną walkę, a musieliby chyba posłowie polscy źle zrozumieć interes narodu i zdeptać wszystkie humanitarne tradycye naszego porozbiorowego istnienia, gdyby głosy swoje rzucili na szalę reakcyi.

Wrogich idei nikt paragrafami zwalczyć nie jest w stanie, a ryglowanie ust jest zawsze dowodem bezsiły państwowej. Rewolucyjnych tendencyi *Hauptmannowskich „Tkaczy“* nie sparaliżuje zakaz policyjny, a przeciwdziałać im może skuteczniej krytyka swobodna i geniusz równy — na przeciwnym biegunie. Hauptmanna-rewolucyonisty nie zdusi żandarm niemiecki, lecz zwyciężyć go może Hauptmann inny, *Hauptmann-konserwatysta.*



POLITYKA.

W obronie wolności.

(*Ernest Freiherr von Wolzogen. Links um! Kehrt! Schwenkt! Trab! Berlin 1895 r.*)

Z pomiędzy licznych głosów, które się w obecnym czasie wśród narodu niemieckiego przeciw projektowi antiprzewrotowej ustawy odzywały, najciekawszym, najwięcej znaczącym jest zapewne protest w powyższej broszurze zawarty. Doniosłość jego polega nietylko na tem, że w zwięzłej, treściwej, a dobitnej formie określa trafnie znaczenie ustawy i jej szkodliwość wykazuje, lecz na tem głównie, że wychodzi z pod pióra autora, który stanowiskiem i urodzeniem do klasy panującej się zalicza. — Baron v. Wolzogen jest arystokratą i to arystokratą nietylko z krwi i pochodzenia swego, lecz i z przekonań. Wierzy w wyższość przez wiekową cywilizacyę uszlachetnionej rasy, wierzy, że jej przeznaczeniem jest przodowanie narodowi. Jestto jednak arystokrata nowego stylu, arystokrata w rodzaju takim, który niestety, zarówno w Niemczech jak i w innych krajach, bardzo mało ma przedstawicieli. Talentem, twórczością literacką zbliża się do inteligentnej, myślącej klasy narodu i dzięki temu wznosi się ponad panujące w swej sferze przesądy i uprzedzenia. Zdolny autor cenionych ogólnie dramatów i powieści bierze żywy udział w ruchu umysłowym swego narodu, ocenia trafnie współczesne kierunki i prądy społeczne, stoi na wysokości cywilizacyjnego poziomu stulecia, i jasnem, trzeźwem okiem patrzy w przyszłość. I dla tego właśnie słowa jego na specyalną zasługują uwagę, że opierają się na dokładnej znajomości zarówno sfer, do których przemawia, jak i tych, czyich interesów broni. Oto, jak sam stanowisko swe określa:

„A teraz przemawiam przedewszystkiem jako arystokrata do ludzi z mej sfery. Mam do tego prawo, jak sądzę, gdyż szczycę się pochodzeniem ze starego rodu, a choć wśród swoich żadnego „Raubrittera“ nie liczę, wymienić mogę cały zastęp tych, którzy w obronie swych niepodległych przekonań walczyli lub męczeństwo ponieśli. Przodkowie moi jedni z najpierwszych wśród austryackiej magnateryi przyłączyli się do reformacyi, a woleli poświęcić swe bogate posiadłości i wysokie stanowiska, niż zaprzeć się prawdy, którą wyznawali.“

FRANCISZEK RAWITA.

WIDZENIE.

Fantazya historyczna na tle rzeczywistości.

Na zamku warszawskim od dłuższego czasu panował ruch niezwykły — pełen gorączki i posępnego smutku. Pakowano rzeczy Najjaśniejszego Pana Stanisława Augusta Poniatowskiego do podróży. Przed siedmiu laty mniej więcej działo się to samo. Król wybierał się wówczas do Kaniowa — teraz także wybierał się... ale dokąd? Wówczas w przygotowaniach było dużo ochoty, wesołości, ożywienia, a teraz odbywało się wszystko cicho, smutnie, jak gdyby chciano tajemnicę zachować — przed kim, po co? Nad zamkiem królewskim ciążyła jakaś posępna atmosfera moralna, która przygniatała wszystkich ciężarem swoim niewidzialnym. Służba szeptała sobie do ucha, że Król do Rzymu jedzie i tam na dewocyi osiądzie; inni wręcz przeczyli, a wszyscy byli pod wrażeniem jakiegoś smutnego zakończenia, które niewiadomością swoją cięższe było od nieubłaganej pewności.

Wesoły dotychczas dwór króla grał teraz komedyę wesołości — damy dworu, jenerałowie, szambelanowie prześcigali się w bawieniu Najjaśniejszego Pana, ale wnet, gdy tylko twarze ich odwracały się od oblicza króla, osiadało na nich zamyślenie, smutek, niepokój przed nierozwiązanem, pełnem trwogi pytaniem: co jutro będzie? Smutek ten spadł na wszystkich niespodziewanie, nagle, przepłynął po ich myślach i twarzach, jak powiew chłodnego wichru, jakgdyby przesunęła się koło nich gromada niewidzialnych duchów i chłodem śmierci wionęła.

Król był także bardzo zamyślony, zgnębiony, smutny. Jasnem, nieruchomem, bez wyrazu, jakgdyby szklanem okiem spoglądał przed siebie jak człowiek, który nic nie widzi. Pragnął się dostroić do tej wesołości, otaczającej go, uśmiechał się — ale to były uśmiechy bez myśli, wrażeń, uczucia — zdawało się, że mięśnie same, z przyzwyczajenia, z nałogu, ulegały skurczom radości. Na czole jego wisiało zamyślenie, którego nic pokryć i zamaskować nie zdołało, piętno swoje na całej kładąc twarzy. Dziwny ten moralny nastrój króla odbijał się na całej jego istocie — w jego słowach, ruchach, postaci. Ubrany wytwornie w aksamity i koronki, połyskujący od złocistych ozdobek, brylantów, barw różnych, wyglądał na szczęśliwego do niedawna człowieka, nad którym wisi nóż gilotyny — każdej chwili gotowy spaść na alabastrową szyję, w koronki ozdobne przystrojoną. Ruchy jego straciły dawną gracyą i elastyczność, cała postać wydawała się złamaną, pochyloną.

Najbliższe otoczenie króla, dostrzegłszy w nim zbyt widoczny rozstrój nerwowy i psychiczny, starało się o to, ażeby go ani na chwilę niepozostawić samotnym, a król tej samotności szukał, uciekał od ulubionego i miłego sobie towarzystwa i błąkał się po olbrzymich salonach zamku, cicho, niby duch jaki.

Miał powody do zmartwienia, powody — nielada.

Zmęczony władzą, której użyć nie umiał, znudzony życiem, które roztrwonił i zmarnował na lubieżne intrygi, pozyskał miłość pochlebców, nienawiść prawych, a zamiast mężem i obywatelem stał się pieskiem, który prowadzony na złotym łańcuchu, szedł za nogą największej rozpustnicy i najprzewrotniejszej kobiety.

Do tej kobiety pisał niedawno:

— „Losy Polski w twoich spoczywają rękach...“

Zdawało się, że zagadkę tych losów król zrozumiał — i to go bolało. A jednak, słaby, ulegał wpływowi cudzej woli i, zamiast we własne ręce te losy ująć — złożył je w ręce carowej Katarzyny. Zrobił tak, jak robi każda słaba dusza, niezdolna do oporu, przyjmująca złe dla tego tylko, ażeby z niem nie walczyć. On składał skarb najdroższy w ręce złodzieja, który rękę po ten skarb już wyciągnął i odda

„Ponieważ i ze strony matki pochodzę ze starej francuzkiej rodziny hugenotów, którzy ze względu na swą wiarę, majątek i ojczyznę porzucić musieli — śmiało powiedzieć mogę, że skłonność do walki przeciw umysłowej stagnacyi we krwi dziedziczę. Wierzę w znaczenie krwi jako darwinista z przekonań; wierzę, że my szlachta stanowimy rasę odrębną, która — przynajmniej aż do najnowszych czasów — do panowania powołaną była. Jedynie swobodny rozwój może wydawać ludzi umysłowo i fizycznie dzielnych i silnych, a przez długie czasy jedynie szlachta tej swobody rozwoju używała.“

„Co mnie właśnie jako arystokratę boli i oburza, pisze dalej, to fakt, że obecne panujące rody całkiem zapomniały, iż niegdyś właśnie ich przodkowie pierwszymi byli szermierzami idei nowych. Chrześciaństwo, odrodzenie, reformacya! Potężny duchowy prąd, który te trzy wyrazy określają, na kimże, jeśli nie na szlachcie i patrycyuszach się opierał? Dopiero w 18 wieku zaniechała szlachta swego właściwego zadania, zniżyła się do podłego, tchórzliwego dworactwa, upadła fizycznie i duchowo wskutek lekkomyślnego życia zmysłów i rozkoszy. Wtedy zagrzmiał nad nią straszny sąd wielkiej rewolucyi i od tej chwili w zgubnem zaślepieniu uznała jako swe powołanie wśród wszelkich okoliczności bronić starego porządku przed nowym. Z teroryzmu tłumów nie wyciągnęła jedynej prawdziwej dla siebie nauki, lecz między sobą a gminem wystawiła niebotyczny mur przesądów.“

„Silne, światłe głowy powinny się przejąć nowemi ideami, czyste ręce muszą je rozpowszechniać w narodzie, jeśli one błogosławieństwo przynieść mają. Groza wielkiej rewolucyi powinna nas była nauczyć, że prawdziwy arystokrata powołanym jest na szermierza nowych idei, zkądkolwiek one pochodzą.“

„Dziś stoimy znowu wobec wielkiej katastrofy: niesłychana większość pracującego ludu, działacze w każdej dziedzinie, ci co czuwają i ku przyszłości dążą, na siedmiomilowych butach wyprzedzili garstkę panujących. W starym ciężkim rynsztunku odwiecznych przesądów wloką się ci ostatni za narodem i zarzucają na niego z rozpaczliwym wysilkiem arkany niedorzecznych ustaw w nadziei, że przynajmniej tym kilku, którzy głowami ponad tłum sterczą, gardła niemi spętają i zduszą, aby pozostałym strachu napędzić. Jednakże tym sposobem nie dokażą niczego, lecz tak rozgoryczą te masy, które obecnie z dobroduszną obojętnością mimo nich biegną, że zwrócą się przeciw nim, aby ich zmiażdżyć.“

Autor stwierdza i obszernie charakteryzuje rozłam, jaki się między panującemi klasami, a inteligentnemi warstwami narodu wytworzył. Zarzuca sferom rządzącym absolutną nieświadomość umysłowego stanowiska narodowej inteligencyi.

„Sądzą oni — mówi, że ci pisarze i agitatorowie, którzy niekiedy przed ich sądami stają, to niebezpieczne dla ogółu wyjątki, przewrotne charaktery i niedowarzone głowy, wyglądające przeważnie na ludzi nie mających nic do stracenia — więc też gotowych z lekkiem sercem wyszydzać najświętsze dobra ludzkości.“

„...Nie widzą, że ci mniemani przestępcy w surowej jaskrawej i niesmacznej formie wypowiadają to tylko, co wykształcony ogół narodu myśli i co zgodnie ze swym umysłowym rozwojem uważa nawet jako naturalną i konieczną podstawę wszelkiego samodzielnego myślenia.“

„Życie teraźniejsze uczy tego, który bystrem okiem śledzi jego objawy i choć trochę konsekwentnie myśleć jest zdolny, całkiem innych rzeczy niż gimnazya i żeńskie pensyonaty, a właśnie ci ludzie, których życie współczesne kształciło i wychowało, nadają charakter obecnej epoce. Ich właśnie konieczność zmusza wciąż dalej postępować, gdyż zastój jest dla nich zagładą: bieda dodaje im skrzydeł i umysł ich zapładnia.“

Przeciwstawiając tym ludziom arystokracyą pisze o niej co niżej:

„Wytworzyło się u nas w Niemczech, zwłaszcza w ostatnich dwudziestu latach takie pojęcie dystynkcyi, które tejże dystynkcyi hołdujące towarzystwo na zagładę skazuje. Polega ono mianowicie na niedorzecznem pysznieniu się pewnym rodzajem umysłowej liberyi. Jeśli liberya ta krojem swym przypomina odległe i zamierzchłe czasy — tem lepiej! Kto do kasty wybranych należeć pragnie, nie powinien się za żadną cenę ani zewnętrznym pozorem, ani myślą lub uczuciem od swych współtowarzyszy kastowych wyróżniać. Odwaga posiadania własnych przekonań nie uchodzi za cnotę, lecz raczej bezczelnością i brakiem smaku się mieni, a otwarte głowy i wrażliwe dusze, które przypadkowo, dzięki urodzeniu swemu, wśród kasty wybranej się trafiają, muszą zawczasu ćwiczyć się w sztuce udawania, gdyż inaczej na pewno zostaną z grona swych bliskich wyszczute. Mogą dożyć do tego nawet, że członkowie najbliższej rodziny najgorliwszymi staną się uczestnikami przeciw nim urządzonej hecy. Możemy słowa powyższe poprzeć charakterystycznym przykładem:

„Dziesięć lat temu brałem udział w założeniu klubu towarzyskiego, mającego zgromadzać śmietankę towarzystwa. Prezydentem obraliśmy dymisonowanego generała. — Celem stowarzyszenia było uprawianie szlachetnej gry w szkata i organizowanie wieczorów tańcujących. Już pierwszego wieczora pewien hrabia, noszący nawet tytuł dostojnego, doniósł przewodniczącemu, iż między członkami znajduje się doktór, stały prenumerator „Vossische Zeitung“ mocno o liberalne przekonania podejrzany. Przewodniczący wziął rzecz z poważnej strony. Zapytał doktora w cztery oczy czy istotnie „Voss. Zeitung“ czytuje i jej tendencye podziela, gdy zaś obwiniony nie chciał i nie mógł się tego zaprzeć, zwołano natychmiast walne zebranie i zapytano, czy członkowie zdecydowani są cierpiec wśród swego grona człowieka, przyznającego się do liberalnych dążeń. Pewien mówca ośmielił się twierdzić, że liberalne przekonania same przez się nie przeszkadzają nikomu być porządnym człowiekiem. Przewodniczący odpowiedział mu, że wszyscy jesteśmy tutaj albo oficerami, albo byłymi oficerami, że zaś oficer liberalnych przekonań jest absolutnie niemożliwym. Przy głosowaniu większość przyłączyła się do opinii przewodniczącego. Doktór sztabowy został wykluczonym, a kilku panów, którzy mimo uchwały większości nie mogli przestać go uważać za porządnego człowieka, dobrowolnie wystąpili z klubu. Byłem naturalnie między nimi.

Nazajutrz na ulicy spotkał mnie Jego Ekscelencya, zatrzymał i mówi: „Posłuchaj, baronie, nie pojmuję, jak możesz się z tym doktorem solidaryzować?

„Czyż Ekselencya utrzymuje, mówię, że człowiek, który był niegdyś oficerem, nie powinien nigdy mieć własnych przekonań?“

„Powinien mieć przekonania swego rządu; wszak to proste? Niech jutro rząd stanie się socyalno-demokratycznym, to i ja socyalnym demokratą zostanę i basta!“

„Powiecie może, że mowa tu o niezwykle niemądrej Ekscelencyi. I to możliwe: jednakże obawiam się, że niezwykłość polegała tu raczej na nierozwadze, z jaką ten pan poglądy swoje wypowiedział, niż na tych poglądach samych. Co zaś z przykładu tego z taką smutną oczywistością wynika, to fakt, że w pewnej części naszego do przodowania powołanego towarzystwa, duchowa nicość właśnie do godności zasady podniesioną została.“

Wolzogen uważa za rzecz słuszną i naturalną, że oficerom wzbronionem zostało branie udziału w politycznych walkach stronnictw, gdyż póki służą, reprezentują oni powagę rządu wobec poddanych i są jego władzy narzędziami. Sądzi, iż kto dobrowolnie do służby wstępuje, uznaje tem samem zasady, któremi kieruje się rząd, jeśli zaś te zasady przestają jego zapatrywaniom odpowiadać, powinien się od służby uwolnić. Nie

---

go za obietnicę przechowania w całości, uczynioną z całą skwapliwością przewrotną.

Dziś właśnie nadeszła odpowiedź z Petersburga.

— Niebezpieczeństwo, na jakie się narażasz — pisała carowa — w pośród rozpasanego ludu warszawskiego, zniewalają mię doradzić ci, Najjaśniejszy Panie, byś z tego obciążonego występkami miasta przeniósł się jak można najprędzej do Grodna.

Tak, nie do Rzymu — do Grodna. Przyjął tę wiadomość z rezygnacyą człowieka, w którego duszy, wszystkie szlachetne promienia wygasły, spopielały resztki dumy, wola stała się bezwładną jak sprężyna złamana, pozostały tylko życzenia, zmęczonego długim i bezowocnem pełzaniem, robaka — bezpiecznego spokoju. Przyszłość taką wskazywała mu carowa w Grodnie. Godził się z tą myślą — ale jak błyskawica na zachmurzonem niebie przelatywała w jego znurzonym umyśle inna myśl:

— Przyszłość kraju... tego kraju, który z zaufaniem i nadzieją wkładał na jego głowę koronę Bolesławów, Łokietków, Zygmuntów, Batorych niedomyślając się czyje ręce koronę tę wywalczyły dla niego.

— Przyszłość kraju...

Miał jej przeczucia niejasne.

Prawda, że magnaci za pieniądze moskiewskie bawili się wesoło, że dokoła jego, króla jednego z największych państw Europy, uśmiechały się roje wesołych panów i pań, ale dwie wojny — jedna po drugiej — powstrzymały prace rolne, dobytek z pod pługa zabrano pod armaty, zboże i wsie popalono, a ludność uciekać poczęła z własnej ojczyzny. Nic dziwnego przeto, że z ust jego wyrywały się smutne proroctwa:

— Polska stanie się stepem bezludnym — myślał ostatni król Polski, a miało stać się jeszcze gorzej.

Z myślą tą uciekał Stanisław August od towarzystwa i błąkał się po zamku, jakby pragnął wszystkie kąty jego, świadków wielkości i sławy pożegnać osobiście.

Zmierzch tylko co zapadać poczynał, ale jeszcze na salach i pokojach panowała jasność pogodnego zimowego dnia, w którym promienie niewidzialnego słońca zwiększają siłę swoją białością śniegu. Śród tego cichego półmierzchu, który spływał zewsząd i ogarniał nieuchwytnemi ramionami swemi wnętrze królewskiej siedziby, skrzypnęły drzwi jednej z sali narożnych. Echo powtórzyło szelest, porwało na skrzydła swoje, niby tajemnicę jaką, uderzyło o kąty salonu szmerem, zadrżało jękiem o szyby szklane i rozpłynęło się w ciszy.

Na progu ukazała się postać króla. Zatrzymał się chwilkę, jakby sam sobie postawił pytanie: po co tutaj przyszedłem? Utkwił spojrzenie w głąb sali i ku oknom narożnym poszedł — machinalnym ruchem popchnięty. Tak samo nie wiedział po co w tę stronę idzie jak nie wiedział, po co do tej sali przyszedł. Szedł zamyślony powolnym krokiem, z postawą pełną wdzięku i ujmującej kokieteryi, szedł ku oknom, drżącym jeszcze od echa, wyświeżony, gładki, upudrowany i ufryzowany jak markiz francuzki, migający blaskami brylantów i świecidełek kosztownych.

Przy jednem z okien zatrzymał się, o ramy się oparł i na plac Zygmunta patrzył.

Nic tam godnego uwagi nie było widać. Śnieg białym jednostajnym, o matowym blasku całunem pokrywał całą płaszczyznę, po której przesuwały się w różnych kierunkach sanki lub karety i widać było czarne poruszające się punkty — ludzi, dążących na krakowskie, na Senatorską lub na Stare-miasto. Bo nad dachami kamienic, migającym śniegiem pokrytych, unosiły się kłęby siwego dymu, które wiatr wieczorny targał, strzępił, w górę unosił i rozszarpywał na niewidzialne obłoczki. Na tle tego obrazu strzelała w górę jak raca smukła, wysoka kolumna Zygmunta, groźnie trzymającego miecz podniesiony ku północy wschodowi.

Na tej postaci zatrzymywały się mimowolnie spojrzenia króla i kilka myśli nasunęło się bezwiednie. W ciszy bezbrzeżnej, jaka go otaczała, z niemych warg spadł mu szeptem wyraz —

— Fatum... — spadł tak cicho, że go na-

można jednak wymagać od oficerów, aby zupełnie się własnych przekonań wyrzekli, inaczej należałoby samych głupców oficerami mianować. Jeżeli zaś dla wojskowych czynnych staje się złem koniecznem pewne ograniczenie indywidualnej swobody wyrażania politycznych opinii, to zupełnie niesłusznie narzuca się te ograniczenia innym poddanym państwa i tych tylko prawymi synami ojczyzny mianuje, którzy się dobrowolnie swej swobody w tym kierunku zrzekają. „Sztucznie hodujemy obłudę, mówi Wolzogen, i wyznaczamy nagrody za bezmyślność.“

Klasy, panujące dla przykładu i podtrzymania swej powagi udają i mocno akcentują wiarę w tysiące prawd przestarzałych, chcąc tym sposobem lud za sobą pociągnąć i powagą swego stanowiska podpierać zbutwiałe poglądy. Na tę sztuczkę jednak dadzą się brać tylko zupełnie ciemni chłopi z zapadłych kątów prowincyi. Rozumni ludzie wszystkich stanów czy otrzymali szkolne wykształcenie, czy też nie, mówią raczej w duszy patrząc na nich: „Boże miłosierny, jakże ci dostojni panowi głupi być muszą, jeśli w to wszystko wierzą istotnie, a jacy przewrotni i obłudni, jeśli wiarę tę tylko udają.“ „Komedya, którą gracie w dobrej wierze ku zbudowaniu ludzi, tylko młodszych drażni i roznamiętnia, a czyni was przedmiotem szyderstwa ludzi dojrzałych“, mówi autor.

Pod sztandary reakcyi, zdaniem jego, zaciągają się w dobrej wierze jedynie ciasne głowy, a ze względu na ich szczerość nie można im nawet pewnego szacunku odmówić. „Dla tych poczciwych, małych umysłów, pisze on, świętem jest to, co do historyi przeszło i to aż do dostępnej dla nich granicy — tej granicy, którą im szkoła wykreśliła. Co po za nią wybiega, jest dla nich przewrotem. Nie można wymagać od nikogo, aby rozumem swoim nauczyciela swego przewyższył, jakkolwiek jest to naturalnym celem wszystkich umysłowych dążeń i warunkiem wszelkiego postępu.

„Co jednak oburzać musi każdego uczciwego człowieka, w którego żyłach nie płynie woda z cukrem, to fakt, że ciasne poglądy stały się obowiązującemi dla członków panującej kasty. Czyż nie nauczyła was historya, że zawsze po wszystkie czasy duchy wielkie nad małemi zwycięztwo odnosiły, mimo wielkiej przewagi liczebnej tych ostatnich, mimo długiego ucisku i prześladowań? Czyż i dziś jeszcze nie widzicie, że w końcu zawsze młodzi starych zwyciężyć muszą? Niegdyś dużo czasu upływało, zanim myśl nowa utorowała sobie drogę i konserwatywny filister zdążył nakłonić się do zmiany przekonań. Lecz dziś niesłychanie szybko rozpowszechniają się idee, w mgnieniu błyskawicy przenikają do najciemniejszych zakątkow, a wy wysyłacie za niemi konnych żandarmów, aby je gonili, wołając: „Stój, bo strzelę!“

Wolzogen swym braciom z arystokracyi daje za przykład żydów, dowodząc, że ich potęga w tem głównie polega, iż skwapliwie przyswajali sobie zdobycze postępu i cywilizacyi na każdem polu i dziś też we wszystkich kierunkach umysłowej działalności narodu rej wodzą. Zrozumieli oni to, czego rodowa arystokracya zrozumieć się wzbrania, że chcąc drugim przewodniczyć i nimi kierować, trzeba ich przedewszystkiem umysłowo przewyższać i na drodze postępu wyprzedzać. Dzięki temu trafnemu zrozumieniu własnego interesu, wytwarza się powoli arystokracya semicka, która starogermańską na drugi plan usuwa. — Chcąc zwalczyć niedorzeczny wstręt do rzeczy nowych i nieuzasadnioną przed niemi obawę, mówi:

„Pomyślmy przecież, że wszystko to, czego dziś jako uświęconego wiekiem dobra bronimy, też niegdyś nowem było i z trudem wbrew oporowi starych żywiołów wywalczonem zostało. Obecne formy państwowe, dynastye panujące, religie i wyznania, prawdy naukowe, pojęcia estetyczne w sztuce, zwyczaje towarzyskie i zasady moralne — wszystko to przecież nie są ani odwieczne, ani wiekuiste urządzenia. W świecie myśli panują równie konsekwentne prawa rozwoju, jak w przyrodzie. Możnaby myśleć, że prawda to oklepana nawet dla dziecinnych umysłów, jednakże nasze panujące klasy wciąż tak postępują, jak gdyby ona do ich głów jeszcze nie przeniknęła. Obawiacie się utracić to, co wam pozostało — ależ nie jesteście chyba ślepi, widzicie przecież, na czem istotne posiadanie i istotna polega potęga, potęga idei, przeciw której, jak wiadomo, bagnetami i armatami walczyć nie można. Wasza zaciekła walka przeciw ideom nowoczesnym świadczy sama przez się, że ich potęgę uznajecie i obawiacie się jej. Dla czegoż więc nie pochwycić jej w swoje ręce? Dla czegoż nie przywłaszczacie sobie nowoczesnych skarbów? Idei nie mogą zamknąć w warownych kasach chciwi złota kapitaliści. Jak ptak wolne krążą one po nad wami.“

„Sądzicie, pisze dalej, że nie wolno wam mieć własnej woli, lecz wolę monarchy waszego pełnić należy, gdyż jesteście naturalnymi obrońcami tronu. Nie — mylicie się, wy właśnie pomagacie tron obalić, wy jesteście istotnem stronnictwem przewrotu. Stajecie bowiem jako żywy mur między tronem a narodem i dzięki wam, monarcha mimo najlepszych chęci ani materyalnego, ani umysłowego życia swego narodu poznać nie może.“

„Jeśli panujący nie zechce się zabawić w Harun al Raszyda — nie ma najmniejszej w życiu sposobności wysłuchania bezwzględnej, niefałszowanej prawdy.“

Przechodzi dalej w krótkich słowach panowanie Wilhelma II-go, jego świetne obiecujące początki od kongresu robotniczego i oddalenia Bismarka, aż do obecnego wielkiego rozczarowania: projektu antiprzewrotowej ustawy. „Jest ona istotnie przewrotem, zniweczeniem radosnych nadziei, wywołała opór i niezadowolnienie wszystkich bez wyjątku klas społeczeństwa.“

„Prawdziwymi działaczami przewrotu są ci właśnie, którzy się sprzysięgli, by walczyć z inteligencyą i wyczerpnąć jej cierpliwość do ostatecznych granic. Nikt nie wierzy w ich obłudne twierdzenie, że bronią najświętszych skarbów narodu. Dla narodu skarbem najświętszym **jest swobodny rozwój jednostki dla dobra ogółu** — a po za wiecznie nadużywanem hasłem obrony tronu i ołtarza ukrywa się tylko obawa utraty uprzywilejowanego miejsca w narodzie.“

Ze stanowiska, jakie panujące klasy wobec postępowego ruchu umysłów zajęły, wynika istotnie, że inteligencya ich naturalnym wrogiem się stała.

„Na twórczość poetycką nakładacie kary, twierdzi Wolzogen.“ „Każdy wielki poeta jest rewolucyonistą. Gdyby nie widział, że są rzeczy, które obalić należy — nie pomyślałby nawet o tworzeniu.“

Pracę swą kończy autor taką gorącą odezwą: „Jeśli wogóle nie wierzycie moim słowom, to uwierzcie przynajmnicj temu, że jako szlachcic i arystokrata, głęboką odczuwam hańbę, widząc moich równych przedstawicielami najniedorzeczniejszej reakcyi, wyśmianymi i wzgardzonymi obrońcami dawno straconej sprawy. Uszanujcie choć wstyd, ktory z waszej przyczyny lica moje pali; odczytajcie uważnie słowa, które zmuszony byłem wam wypowiedzieć. Pisałem jako wasz przyjaciel — usłuchajcież głosu przyjaciela! O jednem tylko bądźcie przekonani: jeśli z waszą pomocą przejdzie ta antiprzewrotowa ustawa, głos ludu wyda na was wyrok śmierci, jako na ludzi, którzy zburzenie królestwa myśli głosili. Czyż nie mówili wam kapłani wasi, dla jakiego grzechu nie ma przebaczenia? *Dla grzechu przeciwko Duchowi św.* *I. M.*

Dokąd idziemy?

II.

Był czas, kiedyśmy po krwawych naukach doszli do przeświadczenia, że siłą brutalną przeciw przemocy orężnej nie zdziałamy nic, że trzeba iść powolną i uciążliwą drogą pracy organicznej i przyswajać sobie nowe idee i hasła

---

wet nie słyszało echo i pustym ścianom salom nie powtórzyło.

— Mógł opanować północ, wschód, południe — nie chciał... Mógł Polskę o dwa morza oprzeć i o góry Uralu — i nie chciał... Wolał brewiarz niż miecz — niechże za karę słabej woli i miękkiej duszy trzyma przez długie wieki ten miecz — na świadectwo, że państwa budują się mieczem, a utrzymuje się — pokojem i miłością.

Kiedy tę myśl sam przed sobą wypowiadał, zdało mu się, że w ciszy, otaczającej go, złośliwy szept przepłynął?

— A ty?...

Uczuł w tej chwili, że go dreszcz przez całe ciało przebiegł — zkąd? Cóż to za dziwne uczucie łączy się z tym dreszczem — i ból, i smutek, i żal za czemś, co bezpowrotnie minęło. Wspomnienie jego błądziło w przeszłości i przesuwało w pamięci własne jego marzenia o poświęceniu, sławie, potędze Polski. Ta, lub owa postać wojownika lub króla stawała przed nim tak wyraźnie, tak jasno, jakby powstawszy z grobowców swoich w katedrze warszawskiej lub na Wawelu, przyszła dręczyć myśl jego, niepokoić ducha... Te nieme, milczące twarze spokojem i powagą przemawiały do niego — nie słowami, lecz czynami. Żadne słowo z ust ich nie wychodziło, ale samo milczenie bolało go, bo doświadczał takiego uczucia, jakby czyjaś ręka serce jego ściskała powoli.....

Uśmiechnął się wreszcie... Uśmiech prześliznął się po bladej twarzy króla i ożywił ją lekko — i zastygł, a usta wyszeptały czarujący wyraz:

— Szczęście...

Gorzkie, bolesne uczucia zatarły się na chwilę pod wpływem wspomnień i marzeń osobistych.

— Byłem stworzony do szczęścia... — myślał. Krążyło ono koło mnie przez całe życie — i uciekało błysnąwszy zaledwie... Kilka promyków jego wpadło tylko do mojej duszy....

Nagle odchylił ramię od ramy okiennej i przeszedł do innego okna. Zatrzymał się przy niem, wyjął białą batystową chusteczkę, koronkowem dzierzganiem ozdobioną, i kwiaty mrozu na szklannej szybie kwitnące, wycierać począł gorączkowym, nerwowym ruchem. Na gładkiej powierzchni szkła był napis brylantem zrobiony: Elżusia...

Napis ten wiązał się z dawnem, dawnem wspomnieniem... To jego ręka ten napis położyła jego... imię kochanej kobiety...

Wspomnienie to rozrzewniło go, przeniosło w dawne czasy, kiedy promyczek szczęścia duszę jego oświecał — odtąd ileż dni przeszło smutnych i ciężkich! Stanisław August rad był, że wspomnienie to weszło do jego duszy, ożywiło ją i zatarło ciężkie myśli.

Imię Elżusi, związane odtąd z jego imieniem przez długie lata, w myśli jego unosiło się na tych promyczkach, które on szczęściem nazywał. Uczuł, że jakiś duch buntowniczy chwilkę ukojenia mu mąci i szepce z akcentem szydertwa:

— Szczęście? Co? Bawisz się pięknemi wyrazami i dźwiękiem ich oszukujesz sam siebie...

W myśli tej zastanowił go wyraz „sam“, szarpnął słuch jego jak akord fałszywy, jak dyssonans, który zgrzytnął w najpiękniejszym ustępię.

— Sam — powtórzył. — Prawda... sam jestem... Szczęście tylko z innymi.

Obraz pięknej Elżusi i tego upojenia, jakie mu dała, stał przed myślą i wyobraźnią zamyślonego króla. Powolnym ruchem odwrócił głowę od okna, w dół schylił i tak ze schyloną głową stał długą chwilę, jakby wsłuchiwał się w ciszę otaczającą go.

— Tam... — szepnął.

Znowu usta złożyły mu się do uśmiechu, w którym nie było ani radości, ani szczęścia. Cichym, elastycznym krokiem przeszedł w zamyśleniu przez salon — i znikł za drzwiami. Pozostał tylko po nim szmer powietrza, drgającego niewyraźnem echem i wonna smuga perfum...

Stanisław August korytarzem wewnętrznym przeszedł do drugiej części zamku — od Wisły. Minął salę melinową, cisową, nie rzuciwszy nawet spojrzenia na marmury i alabastry,

otaczającego nas świata, — by nie stać się kamieniem przydrożnym wśród ogólnego pochodu naprzód. Mieliśmy swoje drogoskazy przyszłości — Marcinkowskich, Libeltów, Warnków — mieliśmy jakiś ruch naukowy, kładliśmy swoją cegiełkę do ogólnego gmachu wiedzy — wolno było być człowiekiem wolnomyślnym i otwarcie przyznawać się do tego — i nie stawać się pośmiewiskiem ogółu. Jakie to dawne czasy! Imię „Marcinkowskich" żyje jeszcze „pustym dzwiękiem" wśród społeczeństwa, dzieła jego spadają dotąd nieprzerwanem pasmem dobrodziejstw na nasze głowy, — a jednak owo tchnienie liberalne, wiejące z tej postaci, co podziałało na nasze stosunki, jak prąd świeżego powietrza w zatęchłej piwnicy, utonęło w piasku zapomnienia. Słowo „liberalny" służy dzisiaj „Kuryerowi Poznańskiemu" za wyzwisko — i nikt nie przeczy, — a jeżeli jakiś duch gorętszy zawoła: „kłamstwo!", Kuryer odpowiada „anarchista" — i znowu nikt nie przeczy.

Czyżby ta fala światła, co z tych ludzi na nasze ostatnie dzieje spłynęła, zagasła bezpowrotnie? — Ale płomienie ducha mają dziwną władzę. Zapalają nowe iskry jeszcze w dalekich pokoleniach; — są jakoby głębokim nurtem ognistym, w którym człowiek pojedyńczy przedstawia tylko jednę falę świetlaną, dającą początek nowym. — A u nas ciemności dokoła. Społeczeństwo sprzecznemi dążnościami miotane nie posuwa się, ale stoi w miejscu. — Nie ma nowych idei, nie ma gwiazd przewodnich!

Więc te światła, które przeszłym pokoleniom świeciły, byłyżby tylko błędnemi ogniami, które zeszły na to nad nasz pogrobowy firmament społeczny, aby dzisiejsze przerażające mroki tem beznadziejniej się odbijały?

Ależ w takim razie wydrzyjmy z serc naszych resztki pragnień, co nas nad padoły unoszą, połammy skrzydła ducha, zatknijmy uszy na głos tych, którzy nam prawią, że jest coś więcej nad syty i spokojny sen, i słuchajmy, co mówi Kuryer Poznański!

Mówi zaś Kuryer Poznański:

Co mi prawicie o narodzie i narodowości? — przedewszystkiem zbawienie. Co jest naród? Najpotężniejsze sidła tego świata — czyż nie mówiłem wam, że świat grzeszny jest? Powiadacie: „czcijmy bohatera Racławic — on walczył za niepodległość". — Dla czego taki zgiełk czynicie? — ten człowiek krew przelewał i nielojalnym był! Mówicie: „gniotą nas, wolnego powietrza nam brak". Niechaj mi nikt słowa: „wolność" nie wymawia — czyż nie wiecie, głupcy, że władza od Boga jest. Pamiętajcie o powołaniu monarszem, „bramy piekielne nie przemogą go!" Starajcie się o syty i spokojny sen dobra tusza jest oznaką czystego sumienia. Pamiętajcie o duszy! — Wszystko inne przydane wam będzie przez rząd pruski.

Mówiąc to, mruga Kuryer Poznański tak, jak mrugał ostatni człowiek w Nietzschego: „Also sprach Zarathustra", i wznosi pobożne oczy do góry. A chociaż nie mówi już nic, widać jeszcze, co myśli: Na tym grzesznym padole płaczu nie ma doskonałości, — a jednak patrzcie no mnie.

Czasami, kiedy ta przedwieczorna atmosfera swą siłą przygnębiającą dotkliwiej podziała na mnie, wyobrażam sobie społeczeństwo nasze, uginające się pod ciężarem owych wyżej wspomnianych ideałów — i jakiś dreszcz bolesny mię przechodzi. A jednak tak źle nie jest! Tylko różnica między wczoraj a dziś polega na tem, że dawniej wolne duchy społeczeństwa przodowały mu w drodze rozwojowej, a dziś, w chwili przełomu wyobrażeń, społeczeństwo stanęło naprzeciw nim. I patrzą na siebie jak dwa wrogie obozy, jak bezwładne masy ciężkiej materyi i tajemnicze siły, zdolne z chaosu wyprowadzić lub w chaosie pogrążyć słońca. I jak niegdyś Bismark wołał na tych, co stanęli na jego drodze: „nieprzyjaciele państwa!", choć nie byli wrogami państwa tylko jego polityki, tak nasi kierownicy wołają na tych, którzy nie łączą swych głosów w zgodny, pochwalny okrzyk tłumu, bo chcą pomimo jego woli popchnąć go ku jaśniejszym horyzontom przyszłości: „nieprzyjaciele społeczeństwa!" Za długo już rozbrzmiewa ten okrzyk pomiędzy nami, głusząc w zarodku każde zdanie szerszym duchem owianej opozycyi, tłumiąc ruch i swobodę umysłów, nie dających się ściągnąć do poziomu panujących wyobrażeń i wyjaławiając społeczeństwo z jego najlepszych sił. — Więc jedni otrząsają proch z nóg swoich i idą szukać w innych stronach szczęścia wśród społeczeństw o nowożytniejszych pojęciach, że wymienię tylko Jana Kasprowicza, najjaśniejszy talent poetycki, jaki do dziś wydała Wielkopolska, (o którym u nas wiedzą tylko tyle, że jest człowiekiem w wysokim stopniu niebezpiecznym); inni, skończywszy nauki za granicą, nie wracają w ogóle do kraju (Stanisław Przybyszewski, piszący w języku niemieckim), wiedząc, że społeczeństwo poznańskie, nie toleruje pojęć, które dla ich umysłu już strawą codzienną się stały, — najwaleczniejsi zostają i dostarczają Kuryerowi materyału na — anarchistów! To nie są żarty. Niejednemu z czytelników utkwiły zapewne w pamięci słowa, jakiemi echo Kuryera w „Czasie" krakowskim witało pierwszą myśl założenia pisma naszego, jedynego organu postępowego na zabór pruski. Jakież one były nizkie, płytkie i nienawiści pełne.

Dzisiaj znalazły wszelkie hasła postępowe przytułek u tych, których społeczeństwo do swoich „nieprzyjaciół" zalicza, — reszta społeczeństwa obywa się echem idei, które dawno przebrzmiały i żywotność straciły. A ponieważ owa mniejszość nie zachowuje swych haseł dla siebie, ale dąży niedwuznacznie do wpojenia ich w społeczeństwo, — wyradza się walka. Pod takim znakiem żyjemy. — Na wielkiej arenie cywilizacyjnej odbywa się powoli przełom w dziedzinie ducha, który zaznaczy swe ślady i w politycznem życiu i urządzeniach społecznych narodów. A chociaż my stoimy dalej od głównego ruchu, — usunąć się zupełnie od niego nie ma sposobu, nie ma też i powodów. Okruchami przechowanemi z przeszłości żadne społeczeństwo trwale żyć nie może. Między tymi, co naszym stronnictwom „ładu i porzadku" przewodzą, jest, zdaje się, głuche poczucie rzeczywistego stanu rzeczy i, co za tem idzie, przekonanie, na jak kruchych nogach ich własna sprawa stoi. Ztąd owa zaciekłość na każdą, nie z ich łona wychodzącą postępową myśl, niespodziewana u ludzi, którzy nawet prawdziwe klęski narodowe umieją znosić z wielkim spokojem. — I w tem dziwnem wahaniu się, nie zdolni postąpić kroku naprzód, będziemy trwać tak długo, póki nowe idee i nowe zadania, będące dzisiaj udziałem znikającej części społeczeństwa, nie ogarną większości i nie rzucą nas w wir ogólnego ruchu, który świat ku nowym torom poprowadzi.

St.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„Gazeta Toruńska" donosi w nr. 63:

„Z pewnej strony proponują zamianowanie księcia Bismarka honorowym obywatelem miasta Torunia. Sądzimy, że wyrazimy myśl wszystkich katolików bez względu na narodowość, jeżeli zaprotestujemy przeciw podobnym pomysłom. Niech wielbiciele uczczą księcia Bismarka choćby jak najuroczyściej i w sposób, który uznają za właściwy, ale zamianowanie obywatelem honorowym miasta Torunia męża, który tyle ukuł ustaw na szkodę katolików wogóle a Polaków w szczególności, byłoby wyraźną prowakacyą i obrazą dla znacznej części spokojnych i zgodnych obywateli naszego grodu."

Z powiatu świeckiego piszą do *„Gazety Gdańskiej"* (nr. 32):

„W powiecie świeckim, znanym z oziębłości i ospałości, leży wioska Gruczno. Wioskę tę Niemcy wybrali sobie jako ziemię obiecaną. Nuże osiedlać się w niej, nuże wykupywać gospodarstwa — tak, że teraz wioska ta, przed kilkunastu laty czysto polska, nosi charakter po większej części niemiecki. Tylko ludek i kilku obywateli są Polakami.

Dnia 3 lutego br. uczuła nasza wiara, orzeźwiona

---

zdobiące je, na malowidła ukochanego Bacciarelego, na zwierciadła, które w dalekiej perspektywie odbijały postać jego, i zatrzymał się na progu malutkiego bocznego saloniku, tworzącego niejako zakończenie cisowej sali. Kanapka i dwa foteliki były prawie jedyną ozdobą tego kąta... Ściany lustrowe odbijały widok na Pragę, na Wisłę i nieskończoną, zda się perspektywę salonów.

W pokojach zmierzch już panował, a na dworze było jemu jasno, jasnością śniegu. Król podniósł spojrzenie i zatrzymał je na widoku, jaki miał przed sobą. Wielki, daleki, posępny był to widok. Tuż, u nóg prawie terasy zamkowej, ciągnie się szeroka płaszczyzna zamarzniętej Wisły, niby wstęga jasno-popielata rzucona na białe tło zimy, która w szerokich skrętach wiła się, zlewając się w dali z jasnością śniegu i czarnością zmroku. Tuż za nią, ku niej pochylone, tuliły się ubogie domy Pragi, w których gdzieniegdzie światełko przebłyskiwało, a nad dachami unosiły się słupy dymu. Dalej, na horyzoncie, czerniały lasy, ciągnęły się w głąb niby chmury dalekie i z ciemną linią nieba łączyły się w uścisku. Smutny to był, martwy, senny widok...

Król oderwal od niego oczy i rzucił spojrzenie na kanapkę. W milczeniu zbliżył się ku niej, zatrzymał się chwilkę, ominął i na fotelu usiadł. Czuł się zgnębionym, zmęczonym. Nie miał siły zapanować nad myślą swoją, nad nerwami, Dawne wspomnienia, uczucia przeżyte, przebolałe. wstrząsały nim i pochylały jak lada powiew wiatru liście drzew porusza i smutną harmonią ciszę mąci. Taki był nastrój jego duszy.

Siedział samotny, wpatrzony w szklaną szybę zwierciadła — nic nie widział przed sobą, tylko migały przed jego oczyma blaski ostatnich świateł dnia, odbite od gładkiej powierzchni szkła. Zmęczony doznanemi wrażeniami, uczuł, że mu jakaś cisza błoga do duszy wchodzi, że mu z tą ciszą tak dobrze, spokojnie. Mimowolnym ruchem wsunął się w głąb fotelu, na którym siedział, oparł się o miękkie poduszki i czuł się uszczęśliwionym tem, że nic nie myśli, nic nie czuje, nic nie pragnie — ma chwilkę spokoju i tę chwilkę za szczęście uznaje. Senność go ogarnęła coraz większa. Powieki zamykały mu wzrok — odchylały się znowu i znowu spadały... Zmęczenie przemogło. Zasunęły się powieki i wpółśnie, wpółjawie ostatni król polski leżał bezwładny, dręczony tylko wyrzutami sumienia, które zasnąć nie mogło. Ręce oparł o dwa oparcia fotelu, pochylił głowę, twarz w dłoniach ukrył i tak siedział z zamkniętemi oczyma nieruchomy zupełnie, zasłuchany w ciszę, która mu w uszach jednostajnym, łagodnym szumem grała.

Nagle postać króla poruszyła się lekko — nie powstał jednak, nie podniósł rąk od oczu.

— Nie chcę... nie mogę... nie mogę... — wyszeptał ledwie dosłyszanym głosem.

Chwilkę trwało milczenie. Zdawało się, że wśród ciszy słychać jeszcze wyrazy pełne bolu: nie mogę... nie mogę...

Po sali poszedł poszmer głuchy, niby tchnienie wiatru.

— Chodź...

— Dokąd? Nie mogę... ja pragnę ciszy, spokoju, zmęczony jestem...

— Pokażę ci drogi, któremi pójdzie pokora twoja i owoce jej.

Król westchnął.

— Ty?... znowu przychodzisz do mnie... Zostaw mnie... odejdź...

Zdało mu się, że widzi tuż przy sobie stojącą białą postać niewieścią o twarzy łagodnej, dobrej, smutnej. Białą płachtą była nakryta — tak, jak się nakrywają włościanki, dłuższą może nieco od innych, a na głowie biały czepiec wdowieństwa.

— Cóż to mi pokazujesz? Znam to, zdaje się...

— Znasz... To Wola...

— Poznaję... tak...

Nagle głosem przestrachu odezwał się:

— Cóż to jest? Wojsko... nasze... działa...

— Bitwa... — głos jakiś szepnął mu do ucha.

Z głębi piersi króla wyleciał z westchnieniem razem wyraz:

na duchu przedstawieniem amatorskiem, wykonanem 20 stycznia, potrzebę założenia towarzystwa. I założono towarzystwo ludowe, Lecz ks. proboszcz miejscowy Sch.. urodzony w Pelplinie, wystąpił przeciw towarzystwu i przeciw przedstawieniu amatorskiemu, na którem jeden okoliczny ksiądz proboszcz był obecnym, a drugi nie mogąc przybyć, przesłał ładny datek na pokrycie kosztów. Według zdania kapłana gruczeńskiego lepiej dla ludu w domu siedzieć niż po teatrach i towarzystwach chodzić! Nie chcę owych krasomówczych słów użyć, któremi ks. Sch ludzi chciał odstraszyć od przystępowania do towarzystwa, gdyżby to niejedno serce polskie jeszcze bardziej zakrwawiło, a smutku i boleści już dosyć! I owoce przyniosło wystąpienie księdza proboszcza z Gruczna! Odsunęło się kilku zależnych od księdza proboszcza ludzi i kilku niezależnych, a iluż odstąpiło od zamiaru przystąpienia do towarzystwa! A jaki cel ma to towarzystwo? Oto bronić lud od jadu socyalów, największych wrogów naszego Kościoła i bronić lud od zalewu germanizacyi. Smutny to szkic naszych stosunków gruczeńskich!!!“

Z powodu artykułów *„Przeglądu Pozn.“* pt. „Ważne wyznanie“ zamieszcza *„Orędownik“* w nr. 64 i 65 interesujące uwagi krytyczne, z których wyjmujemy następujące wyjątki:

„Czy inteligencyi postępowej i politycznej uzdolnionej, a nie za licznej u nas, która się skupiła około „Przeglądu Poznańskiego“, uda się na nowe tory popchnąć całą inteligencyą naszą, to czas pokaże. Interes społeczeństwa naszego bardzo tego potrzebuje.

Mylne są sądy, jakoby ruch ludowy unikał z zasady inteligencyi. Przeciwnie, ruch ludowy przygotowuje podstawę polityczną dla inteligencyi. Obecnie nie dało się nic zrobić, bo spółka z inteligencyą byłaby tylko zaprzepaściła ruch ludowy. Spółka taka to u nas jeszcze — muzyka przyszłości, a wszakże pominąwszy tę muzykę, stosunki tak się układają, że żądają innego udziału, aniżeli dotąd od naszej inteligencyi.“...

„Szlachta — mimo swych wielkich błędów politycznych — przy służbie narodowej stoi zawsze na posterunku; warstwy średnie i niższe w walce kulturnej wysunęły się czynnie naprzod w obronie Kościoła: teraz przez ruch ludowy dążą, by samodzielnie na własną odpowiedzialność stawać do służby narodowej. Tylko o inteligencyi nie można powiedzieć, gdzie jej stanowisko: przy szlachcie nic nie znaczy, przy ruchu ludowym nic nie znaczy, sama przez się też nic nie znaczy.

Inteligencya postępowa, grupująca się około „Przeglądu Pozn.“, wyraziła się w swej odezwie (? Przyp. Red.), że jej się z prawa należy kierownictwo nad ludem i że lud tylko czeka na to. Ta pretensya świadczyła tylko o braku potrzebnego doświadczenia w życiu politycznem. Inteligencya, równie jak szlachta, nie ma wyłącznego przywileju do kierowania sprawami publicznemi, a jeszcze mniej do kierowania ruchem ludowym. Kierownictwo to może sobie tylko wypracować, wyrobić pracą własną, przez postawienie się wśród szeregów ruchu ludowego. Co po za tem, to mrzonki i nic więcej.“

...„Solidarność narodowa została rozbitą. Niech się czasem nikt z inteligencyi nie łudzi, że co się rozpruło, to się samo naprawi. Ani myśleć o tem. Solidarność narodowa to nie objaw jednolitej konstrukcyi, to jest objaw natury składanej; stanowi o niej stosunek warstw i pojedyńczych interesów do siebie. Ten stosunek stanowi sam przez się o harmonii lub dysharmonii w społeczeństwie, a zrywanie solidarności, to tylko dorywcze zaznaczenie dysharmonii, i będzie się tak długo powtarzało, dopóki dysharmonię w społeczeństwie będzie podtrzymywała orkiestra polityki szlacheckiej. Inteligencya stojąca około „Przeglądu Poznańskiego“, może wiele zrobić dla naprawy tej dysharmonii. Praca byłaby nie trudna, bo osad ten krystalizuje się więcej w kształtach rogatych, dla tego wiele wrzawy próżnej wywołuje, ale w gruncie rzeczy tak złośliwy nie jest.“

„Katolik“ ogłasza w nr. 32 następujące szczegóły o pogrzebie sympatycznego poety górnoślązkiego ks K. Damrotha, znanego pod pseudonimem Czesława Lubińskiego:

„Po niemieckiem kazaniu, pieśni i modlitwie powstała wielka cisza i oczekiwanie; to lud czekał na spełnienie ostatniej woli nieboźczyka, który życzył sobie polskiej modlitwy i polskiej pieśni przy grobie. Jeden z Braci Miłosiernych pochyla się ku Przew. ks. Olbrichowi, a potem tenże dosłownie po polsku w te odzywa się słowa: „Widzę też tu takich, co mówią po polsku. Dobrze, żeście tu przyszli, bo to był ksiądz bardzo nauczony. W tej myśli zmówmy za duszę jego Ojcze nasz..,“ Potem księża odeszli i pogrzeb skończony.

Wobec świeżego grobu wielkiego miłośnika Boga i ludzi, którego życie było ciągłym dowodem miłości bliźniego, nie użyjemy słów słusznego oburzenia, ale nie możemy nie wyrazić publicznie wielkiego żalu własnego i obecnych polskich wiernych, że się nie stało zadość życzeniu nieboźczyka. Żal ten odbije się głośnem echem na całym polskim Ślązku, bo jeżeli przy czyim grobie pieśń polska była na miejscu, to właśnie przy grobie tego, który był największym pieśniarzem polskim na Górnym Ślązku. Radzcom i dygnitarzom świeckim, tam obecnym, polska pieśń nie byłaby ucha obraziła, a choćby i tak było, to niechby poznali, że nie tylko królewskiego urzędnika chowaliśmy, ale księdza i polskiego poetę..

Wszystkim dziękowano za udział w pogrzebie od radzców zacząwszy aż do uczniów seminaryum. Lud polski nie usłyszał ani jednego słowa podziękowania Snać myślano, że temu ludowi własne jego serce powie: Bóg zapłać! Pociesz się ludu polski; choć przy pogrzebie byłeś ostatni — za życia byłeś przezacnemu księdzu po Bogu najbliższ serca; to serce, któreśmy z ciałem tam pogrzebali, gdy jeszcze biło, przedewszystkiem dla ciebie biło Kiedy kilka dni przed śmiercią proszono nieboźczyka o modlitwę przed tronem Najwyższego, podniósł ręce w górę, rzycisnął je do serca i rzekł: „Będę się gorąco modlił za wszystkich Polaków“. Pociesz się, ludu polski, i otrzej łzy żalu, bo przed tronem Najwyższego, gdzie, jak w chrześcijańskiej nadziei tuszyć można sobie, dusza nieboźczyka przebywać będzie przez wszystkie wieki, masz jednego gorącego orędownika więcej.

W Gdańsku zaczął wychodzić *„Tygodnik Gdański“* dla ludu. Wydawcą jest znany patryota p. I. Czyżewski.

W lwowskiej korespondencyi *„Gońca Wielkopolskiego“* znajdujemy następujące uwagi o procesie ks. Stojałowskiego:

„Kto jest męczennikiem? Pytanie to nasunęło się nam nietylko z okazyi procesu tarnopolskiego, ile raczej procesu ks. Stojałowskiego i tow., który równocześnie z tamtym toczył się w Cieszynie. I doszliśmy do wniosku, że każdy, kto ponosi stateczne ofiary z osobistych korzyści i wygód dla jakiejś idei, a naraża się owszem świadomie na cierpienia, ten tem samem na miano męczennika zasługuje, choćby nawet idea, której służy, nie miała uznania i choćby środki działania nie zawsze były godziwe. Z tego zaś punktu widzenia musi się przyznać ks. Stojałowskiemu męczeństwo. Jest nim dla tego, ponieważ wskutek swojego działania politycznego po raz dwudziesty i trzeci stawał przed sądem, ponieważ przesiedział w rozmaitych czasach i za rozmaitymi wyrokami razem przeszło dwieście dni w więzieniu czy w areszcie (nie licząc aresztu śledczego, który zapewne więcej wynosi, niż rzeczywiste kondemnaty), ponieważ wskutek tego swojego działania naraził się na utratę korzystnego beneficyum i został dziadem, a w dodatku napłacił się różnych grzywien na kwotę 1500 złotych.

Opowiadając dzieje tych procesów, które są nie jako tylko widomemi ogniwami w niewidomym łańcuchu zapasów tego szczupłego i chudego człowieczka w sutannie z „grubemi rybami“ galicyjskiemi, rozpłakał się ten twardy szermierz, jak małe dziecko..

Musiało się już chyba dużo nagromadzić goryczy w tem małem naczyniu, w którem bezpiecznie wielki duch mieszka, jeżeli się przelała właśnie w taką porę, w obliczu tak mało życzliwych mu ludzi.

Ani świetna obrona samego ks. Stojałowskiego i jego doradzcy prawnego. ani łzy podsądnego nie zdołały wyjednać dla niego uwolnienia. W rawdzie nie skazano go za zbrodnię obrazy majestatu, ale za to skazano go za obrazę Badeniego i jakiegoś p Oehlweina, administratora dóbr śp. arcyksięcia Albrechta na Ślązku na 4 miesiące aresztu.

Zapewne, że gdyby ks. Stojałowski był sobie obrał inną jaką ideę, ja pracę dla najuboższych, niekoniecznie musiałby tak wiele cierpieć A są jeczcze u nas ‚idee“ tłuste i — nieprzymierzając — jak dojne krowy intratne.. “

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Il Pensiero Slavo“ krytykuje obecną polsko-niemiecką koalicyą w Austryi i pisze:

„Koalicya polsko-niemiecka stara się wszelkiemi sposobami, aby wycisnąć piętno swoje na sprawach politycznych bierzącego dziesięciolecia. Zdaje się, iż powracamy do stanu rzeczy z roku 1860, do ogólnej antypatyi rządu wobec Słowian. Wprawdzie reakcya przeciw temu nienaturalnemu polsko-niemieckiemu przymierzu budzi się, ale akcya jej słabo się rozwija, najruchliwszymi okazują się Słowacy na Węgrzech i Rusini w Galicyi. Zrazu podniesiono wśród ludności słowiańskiej myśl wysyłania tłumnych deputacyi do cesarza, ale dziś po doświadczeniu, jakie zrobili Rumuni, których deputacyi cesarz nie przyjął, zamiaru tego zaniechano. Nic pozostaje nam nic innego, jak liczyć na siebie: „pomóżmy sobie, a Bóg nam pomoże!“

Słowianie odczuwają dobrze trudność położenia, w jakim się znajdują od roku 1860. atoli powinniśmy być przygotowani na stan rzeczy jeszcze gorszy. Słowianie austryaccy powinni bardziej zbliżyć się ku sobie. Pielęgnowanie uczuć braterskich przypadło w udziale w pierwszym rzędzie Młodoczechom, postępującym na czele ruchu słowiańskiego.

— Bitwa...

Przez chwilkę wpatrywał się w obraz, który się przed nim roztaczał, starając się całym wysiłkiem woli zdać sobie sprawę z tego, co widzi. Tak, Stanisław August patrzył na bitwę... Widział poruszające się kolumny wojska, słyszał ryki armat, czuł zapach prochu, słyszał jęki rannych... Tak, to bitwa była...' Jakieś wojsko zdobywało okopy...

Król krzyknął przeraźliwym głosem.

— Oni! Poznałem ich...

— Oni...

— Zdobywają okopy... ach Boże!

— Widzisz... Króla na czele Polaków nie ma...

Z pod dłoni, które twarz Stanisława Augusta ukrywały słychać było urywane, spazmatyczne łkanie.

— Chodź dalej...

— Nie mogę... sił mi braknie...

— Chodź...

Niewiasta w bieli ujęła króla za rękę i wiodła za sobą. Szedł znękany, smutny. Ona pochyliła się ku niemu i rzekła półgłosem:

— Kościół św. Krzyża...

Król podniósł głowę, a spojrzenie jego zatrzymało się na postaci Chrystusa, który pochylił się ku ziemi na ramionach swoich krzyż dźwigał. Ledwie miał czas uklęknąć i przeżegnać się, gdy zdało mu się, że do uszu jego dolatują echa modlitwy, z piersi nabrzmiałej żalem wyrywającej się ku niebu.

Odwrócił się i stanął osłupiały.

Cały plac przed kościołem św. Krzyża, w dół do pałacu Karasia, ku ulicy Oboźnej, w prawo ku Nowemu Światowi i Łazienkom, był wypełniony tłumami modlącego się ludu. Przodem niesiono chorągwie, krzyże, postępowali księża, ubrani w ornaty, a za nimi płynęła żywa fala ludu... Wszyscy, jak pokutnicy, postępowali z pochylonemi głowami i jękiem modlitwy napełniali powietrze.

Przed twe ołtarze zanosim błaganie
Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!..

Krol zatrzymał się pełen zdziwienia i niepokoju. Nieznane stroje, nieznani ludzie, nieznane śpiewy, wszystko to było czemś niepojętem dla niego. O jaką to utraconą Ojczyznę i wolność modlą się ci ludzie?

Niewiasta w bieli odgadła myśli króla, ale nic nie rzekła; ujęła go tylko lekko za ramię i w ten sposób zmusiła niejako odwrócić głowę w inną stronę, w której zaszumiał jakiś miarowy, jednostajny, szelest się dawał.

Oczy jego uderzone zostały widokiem kolumn wojska, postępujących w zwarciu krakowskiem przedmieściem. Błyszczały do słońca bagnety, migały wydobyte z pochew pałasze oficerów, a ten wąż pstrokaty posuwał się równą linią wprost ku owym ludziom modlącym się — i stanął.

Oni... szepnęła niewiasta.

Król ledwie oddychał z przerażenia i powtórzył bezwiednie:

— Oni... zawsze oni...

Tymczasem z jednej strony płynęła modlitwa, z drugiej — wysunęły się równolegle do ziemi lufy karabinów, a po chwili rozległ się głos komendy moskiewskiej:

— Pli...

Błysnęły ognie, echem wystrzałów napełniło się powietrze, a głosy modlitwy mięszały się z jękiem rannych, z westchnieniem konających.

Król podniósł rękę do góry, biedz począł ku strzelającym żołnierzom i z całej piersi wołał:

— Stój! Stój!

Płacze, jęki, krzyki, huk wystrzałów przygłuszały wołanie króla.

— Nie wstrzymasz ich — zapóźno...

— Czemże ten tłum zawinił?

— Niczem... On pokutuje tylko za pokorę dziadów i ojców.

— Ach, prowadź mię ztąd! Prowadź! uchodźmy! — zawołał król głosem błagalnym. — Nie chcę patrzeć... nie mogę...

Przewodniczka rzekła mu spokojnie:

— Wróćmy... W zamku czekają na ciebie goście...

Myśl powrotu uradowała króla. Odetchnął

Kwestya słowiańska jest kwestyą egzystencyi dla Austryi, Słowianie austryaccy nie powinni przestawać na małem, ale wszelkiemi siłami dążyć do osiągnięcia tego stopnia niezawisłości, jaki im się należy po prawie."

* * *

Słowackie *„Narodnie Noviny"*, wychodzące w *Turczańskim św. Marcinie* na Węgrzech rozpisują się o ostatnim wystąpieniu Kolomana Tiszy:

„Wreszcie odezwał się znowu stary lis. Koloman Tisza był w Wielkim Waradynie i tam mówił szeroko o różnych sprawach publicznych, jako też o kwestyi narodowościowej na Węgrzech. Uskarżał się, że go ludzie napastują niewinnie, że powinni mu dać spokój, gdyż dopiero po śmierci skutki jego działalności mogą się okazać. Nieborak sądzi, że go mają za niewiniątko, że świat nic nie wie, ile nabroił złego. Mówił, że trzeba pracować przedewszystkiem nad wzmocnieniem stronnictwa liberalnego, że nowe ustawy kościelno-polityczne powinny być już dawno przyjęte.

Co rzekł w kwestyi narodowościowej, to puste frazesy. Za czasów jego ministrowania najwięcej prawa narodowościowe gwałcono.

Tisza mówił, że kwestya narodowościowa wówczas się pojawia, kiedy Madziarzy przechodzą kryzys. Tak było w roku 1875, kiedy Serbowie zaszli aż do sprzysiężenia. Wówczas atoli powiodło się rządowi węgierskiemu głowę sprzysiężenia dr. Mileticza uwięzić i wybuchowi przeszkodzić.

Jak widać, chciał Tisza zwrócić uwagę Madziarom na to, że Słowianie węgierscy wówczas głowę podnoszą, gdy widzą państwo w niebezpieczeństwie. Istotnej przyczyny akcyi naszej t. j. barbarzyńskiego prześladowania nie widzi. Rzecz całkiem ignoruje. Tisza chwali Słowian, że się naginają dobrowolnie pod jarzmo madziarskie. O kwestyi narodowościowej sądzi, że ona, jak inne kwestye, z czasem całkiem zniknie i przeżyje się.

Ustawa, zaprowadzająca język wykładowy madziarski w szkołach jest pożyteczną, bo dała sposobność ludowi słowackiemu nauczenia się po madziarsku.

Tisza przyznaje, że trzeba od czasu do czasu pofolgować, aby kwestyą narodowościową uciszyć. Pod tym względem mają obowiązek zręcznego manewrowania państwo i społeczeństwo. Rząd atoli powinien z całą surowością wystąpować przeciw akcyi, mającej na celu sojusz narodowości niemadziarskich przeciw Węgrom. *K.*



BADANIA NAUKOWE.

O ruchu etycznym.

Szkic historyczno-filozoficzny.

(Ciąg dalszy.)

W Niemczech mniej więcej w połowie bieżącego stulecia, bo około roku 1841 Ludwik Feuerbach broni zdania, że stosunki moralne same przez się *jedynie* są prawdziwie wzniosłymi i odpowiednimi. Około roku 1845 wskutek rozwijającego się nowoczesnego *światopoglądu* wyłania się ruch *niemco-katolicki* i wolnoprotestancki. *Niemco-katolicy* (Deutsch- oder Christkatholiken) na pierwszym „soborze" w Lipsku w r. 1845 wypowiadają swoje wyznanie wiary, w którem zatrzymują najgłówniejsze dawne wierzenia stawiając jako zasadę obowiązującą odrzucenie prymatu papieskiego, zupełną wolność sumienia, tudzież swobodę krytyki i tłomaczenia Pisma. Podobne oświadczenie w listopadzie 1847 składa 112 obywateli w Magdeburgu. Obok tych prądów istocie wierzeń dawnych ostatecznie przychylnych, widzimy jednocześnie, budzący się ruch etyczny. W roku 1843 Dr. Kleinpaul wydaje broszurę p. t. „Podniesienie myśli społecznej przez naukę. Słowo do wszystkich, życzących sobie postępu moralności", w której poleca moralno-polityczny kierunek oświaty ludowej w przeciwstawieniu do kierunku dotychczasowego. Myśl ową stara się poprzeć w roku następnym przez wydanie katechizmu prawa i moralności. W roku 1847 zakłada Kleinpaul w Hamburgu wolną gminę, a w programie mówi: „Jest to stowarzyszenie duchowo-wolnych ludzi, którzy się łączą, aby to, co jest prawdziwie ludzkiem i naturalnem, w przeciwstawieniu do wierzeń dotychczasowych wpoić w świadomość ludu". Na tem samem stanowisku stoi gmina w Marburgu, założona w lutym 1847 przez profesora uniwersytetu Bayrhoffera. Z czasem liczba *niemco-katolików*, stojących na stanowisku soboru lipskiego, wzrasta bardzo znacznie, bowiem na drugim „soborze" w Berlinie w r. 1847 z około 200 już istniejących gmin reprezentowanych jest 150 (*podczas* kiedy do tego *czasu* tworzy się wszystkiego 7 gmin wolnoprotestanckich). Lecz zauważyć można wśród nich pewne skłanianie się do ruchu etycznego; drugi ten sobór nie obstaje już tak bezwarunkowo przy dawnem wyznaniu wiary, bo uchwala, że na zebraniach przyszłych mogą być reprezentowane i takie gminy, które przyjęły tylko zasady soboru lipskiego bez jego wyznania wiary. Doprowadziło to w dalszym ciągu do połączenia się niemcokatolików z wolnoprotestantami w związek gmin postępowych, które to połączenie po nieudanej próbie w roku 1850 przyszło do skutku w dziewięć lat później na zebraniu w Gotha. Odtąd przewodnictwo związku w miarę potrzeby ogłasza sprawozdania wykazujące wzrost prądu etycznego. Świadczą o tem usiłowania dążące do ustalenia i przybrania w formę zewnętrzną poglądów o celach związku, które miałyby być uznane przez każdą przynależną gminę. Sprzeciwiają się temu wprawdzie gminy wschodnio-niemieckie z jednej strony dlatego, aby nie stracić zwolenników, trzymających się jeszcze pewnych wierzeń, a z drugiej strony, aby uwolniwszy się od więzów dotychczasowych, nie dać sobie już narzucić nowego dogmatu. Gminy te powstają pod wpływem szczerze religijnego kaznodziei wolnej gminy w Królewcu, Juliusza Rupp'a. Tenże w wydanej w roku 1873 pracy o religii i moralności pisze: „....Tylko o ile człowiek sam czemś jest i sam do siebie należy, — o ile pod własnym wpływem działa, uważając się przytem za cząstkę całości, *niesioną* przez odwieczne siły wszechświata i wśród jego praw niezmiennych istniejącą: o tyle tylko znajduje się na drodze do doskonałości". *Bardziej przychylną* dawnym poglądom jest również część peryodycznej prasy wolnych gmin, jak „Reformblaetter" Th. Prengla w Królewcu, „Denk nach" (Blaetter zur Foerderung des sittlich-religiösen Lebens) Schultzky'ego w Insterburgu, „Die Morgenröthe" Karola Voigta w Offenbachu i „Es werde Licht!" Karola Scholla w Norymberdze*). Przeciwnie wybitnie moralistycznemi są: centralny organ gmin postępowych w Niemczech „Das Neue freireligiöse Sonntagsblatt" Dra. Völkla w Magdeburg-Sudenburg, „Die freireligiösen Herzensfragen" Bursche'go w Magdeburgu, i „Der Bruder", Zeitschrift des Bundes für volle Menschlichkeit, w Gruna, obok Drezna, na czele którego stoi „brat" Jan Guttreit.**) Ostatni odświeża poniekąd poglądy Jana Jakóba Rousseau'a, zalecając zżycie się z naturą; nakazuje też bezwzględne hołdowanie prawdzie i głosi często już powtarzaną zasadę pilnego wsłuchiwania się w głos sumienia. Wybitnymi przywódzcami etycznego ruchu są też Dr. Bruno Wille (który następnie przekonania

*) Tu zaliczyć też należy pracę Chr. Elssnera „Materialien zum Religionsunterricht in den fr. prot. Gemeinden, Alzey, Ackermann, 1882. G. Schneidera: „Was erstreben die freireligiösen Gemeinden?" Mannheim 1889 Haas & Comp., W. Hieronymi'ego „Grundgedanken und Unterscheidungslehren der freireligiösen Gemeinden", 10. wydanie 1884 nakładem Morgenröthe w Offenbachu; Jana Bohla „Lebensregeln" własnym nakładem w Magdeburgu wydane. G. Tschirn'a rozprawy „Ueber den Religionsbegriff" w „Neues freirelig. Sonntagsblatt" 1889 p. 385, 1890 p. 246, 250.

**) Por. artykuł Dra. B. Wille'go p. t. „Der Naturprediger Guttreit" w czasopiśmie „Freie Bühne für modernes Leben" (obecnie „für den Entwicklungskampf der Teil) zeszyt 15. z 15. kwietnia 1891.

---

głęboko jak człowiek, który zmęczony bardzo usiadł odpocząć.

Zdziwienie ogarnęło go jednak, gdy ujrzał na zamku salę tronową, w całym blasku i przepychu oświetlenia. Ale sala była pusta. Tron złocony, na którym w gronostajach i w koronie siadywał, znikł kędyś, pozostały tylko marmury, posągi, kominki wspaniałe, malowane sufity, żyrandole. On, król, siedział pokornie i cicho w kąciku i z uczuciem smutku na pustą salę patrzył. W tem spostrzegł zdziwiony, że ku niemu zdąża nieznana wojskowa postać, w galowym mundurze, z pióropuszem — postać sztywna, nadęta.

Król mimowolnym ruchem głowę naprzód trochę wysunął, pytające spojrzenie w postać, zdążającą ku niemu, utkwił i czekał...

Postać ta o kilka kroków od króla zatrzymała się.

— Czego sobie Waćpan życzysz? — zapytał.

Nieznany hardo spojrzał na króla.

— Jestem Hurko...

Nazwisko to zastanowiło krola.

— Hurko? Pisarz grodzki litewski?

— Nie, jenerał w służbie rosyjskiej...

— A cóż waćpan tu robisz?

— Jestem sługą Najjaśniejszego Pana Aleksandra III, króla polskiego.

Stanisław August pochylił się jakgdyby pragnął dokładniej słyszeć mowę Hurki. Słyszał ją, ale nie był pewny tego, co słyszy.

— Aleksandra? Jakiego? Co?

— Aleksandra III, cesarza Wszech-Rosyi... Z jego rozkazu sprawuję rządy i opiekę nad tym krajem buntowniczym...

— Co Waść powiadasz? Buntowniczym? Czy dobrze słyszę?

— Buntowniczym...

Czegoż ci ludzie pragną?

— Innego niż my życia, innej, niż nasza wszechrosyjska ojczyzna.

— Ależ Waćpan zapominasz, że my jesteśmy narodem wolnym, że posiadamy własną ojczyznę, milszą dla nas niż wszystkie najpiękniejsze na świecie.

Niewiasta w bieli skinęła ręką i w sali znowu nie było nikogo.

— Teraz zaprowadzę ciebie do pokoiku narożnego... i pokażę ci to, na co prawnuki twoje patrzeć będą.

Przypomnienie tego saloniku uspokoiło nieco króla. Tu lubił przesiadywać samotny i tu z Elżunią upływały mu chwile szczęśliwe.

Niewiasta przyprowadziła go do fotelu.

— Usiądź... — rzekła — zmęczony jesteś.

— O, bardzo.

Ledwie usiadł i podniósł oczy przed siebie — wzrok jego znieruchomiał w jednej chwili. Cała postać króla wyprężyła się, głowa wysunęła się naprzód, jakby spojrzeniem pragnął przeniknąć i odgadnąć to, na co patrzył i co zdawało się wstrząsać nim do głębi. Na placu Zygmunta, na tym samym placu, na który patrzył przed chwilą roiły się tłumy ludzi obdartych, w łachmanach. Jedni z nich mieli głowy pochylone, twarze smutne, tym niemym smutkiem rozpaczy, który wstrząsa każdą duszę ludzką; inni rozpalone gorączkowe spojrzenia utkwili w mury zamku, jakgdyby tam pragnęli znaleźć bodaj promyczek nadziei, z upiorem maniaków, którzy nie mogą oderwać oczu od jednego punktu. Nędza, pognębienie, niepewność jutra. trwożliwa obawa o to, ażeby jutro nie odebrano ostatniego kawałka chleba ich dzieciom, matkom, ojcom, braciom, malowało się na tych twarzach wychudzonych. Ukryte, ciche cierpienie gniotło ich myśli, łamało ich ducha, osłabiało wolę, zbijało dumę ludzką i wielką siłę moralną. Nad tym tłumem pognębionym, strwożonym strzelała w górę kolumna Zygmunta, a król jakby na urągowisko tłumom trzymał w ręku szablę — papierową,

swoje zmienia) i E. Vogtherr w Berlinie. Do związku gmin niemieckich należały też dawniej gminy we Wiedniu i w Gracu, lecz od roku 1874 z przyczyn politycznych trzymają się zdala. Organ bezwyznaniowego stowarzyszenia we Wiedniu, redagowane przez Edwarda Schwelle czasopismo „Der Lichtfreund“, nie propaguje ściśle moralistycznych tendencyj. Podobnie rzecz się ma z niemco-katolickiem stowarzyszeniem kościelnem w Saksonii, w skład którego wchodzą gminy w Dreźnie, Lipsku, Chemnitz, Zwickau itd. Jest ono nawet od roku 1848 prawnie przez państwo uznanem i od lat dwunastu pobiera subwencyę skarbową, lecz od czasów Beust'a nie ma prawa łączenia się z innemi wolnemi gminami.

Prócz tego stronnictwa postępowego istnieje jeszcze w Niemczech stronnictwo wolnomyślne. 10. kwietnia 1881 powstaje stowarzyszenie wolnomyślnych dla zjednoczenia niemieckich wolnomyślnych i wzmocnienia ich walki przeciw błędnym poglądom dotychczasowym. Ten wrogi wierzeniom kierunek przejawia się w pracach przywódzców: Büchnera, Spechta, Rüdt'a, Sterna i innych, którzy działają w ściśle moralistycznym duchu. Mimo to postępowi i wolnomyślni upatrują między sobą dużo pokrewieństwa. Tak oświadczył kaznodzieja wolnej gminy wrocławskiej Hofferichter na synodzie szląskim w roku 1882, że „różnica leży tylko w nazwisku i w organizacyi.“ Pokrewieństwo to uwidacznia się też na walnych zebraniach w Magdeburgu w roku 1889 i w Hannowerze w roku 1890. W Berlinie zakłada Dr. Franciszek Huber w roku 1889 towarzystwo etyczne „dla podniesienia postępu etycznego.“ Celem towarzystwa jest przyczynianie się do uzyskania i utrzymania powszechnego dobra przez wykłady dla dorosłych, a naukę dla dzieci. Niewrogie wierzeniom poglądy tego towarzystwa zmieniły się dopiero na ściśle moralistyczne po wstąpieniu Hubera i objęciu kierownictwa przez Wille'go i Völkla.

W roku 1851, w którym ruch postępowy znajduje się na punkcie kulminacyjnym rozwoju, istnieje około 312 gmin, obejmujących około 150,000 dusz. W latach następnych — pod wpływem reakcyi — liczba ta maleje, tak, że w roku 1869 jest już tylko 68 gmin: w roku 1891 istnieje w Niemczech około 92 gmin z 34,000 członkami a niektóre gminy dość znaczne nawet posiadają fundusze. Związek wolnomyślny liczy około 411 członków, nadto w skład jego wchodzi jedenaście stowarzyszeń z liczbą członków około 1200. Wśród wybitniejszych zwolenników ruchu widzimy nadto Fryderyka Vischera†), Lichtenberga††), F. A. Lange'go†††), A. Dulk'a, Maksa Nordau'a†*), A. Ruge'go, Eugenjusza Richtera, Liebknecht'a etc. etc.

Przechodzimy teraz do ruchu etycznego *w Ameryce*, zainicyowanego przez Niemców. Przybysze niemieccy, jak Schröter, Schramm, Loose i Schünemann-Pott zakładają w Ameryce w roku 1846 około 40 wolnych gmin, z których najważniejszemi były gminy w Nowym Jorku, Filadelfii i Milwaukee. W roku 1859, w którym w Niemczech odbywa się połączenie niemco-katolików z wolnopretestantami, i w Ameryce kilka gmin wolnych łączy się w związek, którego stanowisko wobec dawnych wierzeń bardzo jest podobnem do stanowiska, zajmowanego przez niemieckich postępowców. W roku 1865 zjawia się na trzecim zjeździe związku wolnych gmin niemieckich w Gotha Schünemann-Pott jako delegat związku amerykańskiego, skutkiem czego uchwalonym zostaje wniosek, co do utrzymywania stałej korespondencyi z braćmi w Ameryce.

W roku 1872 związek gmin wolnych w Ameryce na zebraniu w Milwaukee uchwala między innemi następujące zasady:

1) Uznajemy *jedynie* bezwzględne panowanie rozumu na wszystkich polach działalności ludzkiej.

— — — — — — — — — — — —

4) Uznajemy, że rozum jest *jedynem* źródłem prawdziwej etyki, że słuchając przepisów jego wspólnie nad postępem i wydoskonaleniem ludzkości pracujemy.....-

Część tych gmin przystępuje następnie do założonego w roku 1876 związku radykalnego, który odrazu na stanowisku moralistycznem staje. Właściwy kierunek etyczny okazuje się nietyle z zasad związku, obstających tylko przy bezwzględnem warowaniu *ustawowo* zagwarantowanej wolności sumienia, ile — jak wszędzie — z oświadczeń przywódzców, jak C. Hermana Boppe'go w jego czasopiśmie „Freidenker„ i w „Freidenker-Almanach“, Karola Heinzena w „Sechs Briefe an einen frommen Mann“, pani Jadwigi Henrich-Wilhelmi w wygłoszonych przez nią odczytach i Maksymiliana Grossmanna w znanym jego pamflecie. W roku 1880 było w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej 198 niemieckich wolnych gmin i stowarzyszeń.

Zainicyowany przez Niemców ruch etyczny ogarnia z czasem Anglo-Amerykanów, którzy już po dość krótkim czasie o wiele szybszym od tamtych poszczycić się mogą rozwojem. Wspomnianemu związkowi radykalnemu odpowiada anglo-amerykańska „american secular union“. Zakłada ją F. E. Abbot jako „liberal league of North-Amerika“ w roku 1876 w Filadelfii, przedewszystkiem dla zwalczania zabiegów państwa, klerowi zbyt przyjaznych. Mimo to tendencya skierowaną jest przeciw wierzeniom samym, czego dowodzą: Roberta Ingersolla „Oration on the Gods“, „How Man makes Gods“, „Law, not God“; dalej „The Boston Investigator“, found. by H. Seaver; „the truthseeker“, New-York, found. by Bennet; „Free Thought, San Francisko“, Cal., ed. by Putnam and Macdonald. Bardziej umiarkowanym jest Paweł Carus, wydawca sekularystycznego czasopisma „The open cowit“ i „The Monist“, autor dzieła p. t. „Fundamentae problems“ (Chicago, 1889), w którem współczesne zwątpienia rozwięzuje sentencyą: „Nie wiara, ale ufność. Miejmy ufność w moralny porządek świata, ufności tyle gdyby ziarnko gorczycy, żyjmy i dążmy bez zmęczenia“. W roku 1885 „american secular union„ obejmuje przynajmniej 275 towarzystw. Liczba ich następnie w prawdzie maleje, lecz w roku 1889 na kongresie w Filadelfii prezydent Westbrook — ze skutkiem zdaje się — stara się o powetowanie poniesionych strat.

†) por. art. Vischera p. t. „Gervinus und die Deutschkatoliken“ w Schweglera „Jahrbuch der Gegenwart“ 1845 i dzieło p. t. „Auch Einer“ 3. wyd. w Stuttgarcie 1884.

††) Lichtenberg, vermischte Schriften, Göttingen 1867

†††) Lange — Historya materyalizmu — 3. wydanie 1877.

†*) Nordau: Die convestionellen Lügen, 12. wyd. 1886.

Dr. Garfien,

(Ciąg dalszy nastąpi.)



JERZY GIŻYCKI.

(Wspomnienie pozgonne.

Co czynił i uczynił Giżycki dla nauki, o tem świat uczonych zapomni pewnie prędko. Specyalne monagrafie o Schaftesburym i Humie podobały się w swoim czasie (1878 80) krytyce naukowej. Reszta zaś jego prac nie była przeznaczoną do gabinetu i biblioteki. Tutaj należą i u nas sympatycznie (1883 w przekładzie) przyjęte „Zasady etyki,“ rozszerzone w kilka lat później pod nazwą „Filozofii moralnej“ (przełożonej na angielskie). Dalej przekłady, dokonane z dzieł amerykańskich etyków-praktyków: tłomaczenia mów moralnych Stouton Coit'a, Saltera, Adlera i innych, drobny szkic o Kancie i Schopenhauerze (1888). Wreszcie ostatnie lata jego życia wypełniła całkowicie działalność publicystyczna. Wraz z kilku innymi — a w szczególności przy współudziale tajnego radzcy Förstera — powołał do życia „Towarzystwo niemieckie kultury etycznej“, o którem niejednokrotnie już była mowa w Prawdzie, wydawał pismo, poświęcone tej misyi p. t. „Kultura etyczna“ i sam pisywał

na której wrony, usiadłszy, krakały. Na czoło tego tłumu, bliżej ku zamkowi wysunęło się kilkanaście postaci; jedne z nich były w mundurach — moskiewskich, drugim błyszczały na klapach od surdutów ordery — moskiewskie, innym sypały się na ziemię z kieszeni, przeładowanych złotem, pieniądze — moskiewskie, które w lot rozchwytywała, kręcąca się obok, na usługach ich będąca zgraja hołyszów i wisielców, oderwanych z szubienicy, w czapkach błazeńskich z dzwonkami.

Śród tłumu zgnębionego, przerażonego, budzącego w sercu rozpacz i litość, snuły się jakieś postacie o lisiem spojrzeniu, utuczonych policzkach, czerwonych jak u upiorów, które poszturchiwały zuchwale każdego, wołając:

— Krzyczcie, krzyczcie bydlęta: niech żyje najjaśniejszy cesarz Wszechrosyi i pan nasz miłościwy.

Tłum wrzeszczał z przerażeniem:

— Niech żyje! Niech żyje!

Król drgnienie serca uczuł na te wykrzyki.

— Co to jest takiego? Co to za ludzie?

— To naród twój Najjaśniejszy Panie, który oddałeś w opiekę Rosyi.

Usta zacisnęły mu się bolem.

— Czegoż oni pragną? — spytał po hwili.

— Zapytaj tych, którzy się przedstawicielami nazywają... Stoją na czele narodu... Skiń ku nim — niech się zbliżą.

Król skinął.

— Jakie są wasze życzenia? Pocoście przyszli tutaj?

— Przyszliśmy podziękować za opiekę nad nami Temu, który w imieniu cesarza rządy nad nami sprawuje i o łaskę tylko dla nas wypraszać.

Król głowę pochylił. Zdawało mu się, że niedobrze słyszy.

— Łaskę? — powtórzył. — Prawo... — rzekł z naciskiem.

— Nam łaska wystarczy...

— Jakiejże łaski żądacie?

— Ażeby nam żyć pozwolił, a dzieciom naszym nie odbierał wszystkiego chleba.

— Nic więcej?

— Nic.

— Dokądże wy prowadzicie te tłumy? — Ojcowie ich byli bogaci, wolni, szanowani na całym świecie, a oni stali się albo żebrakami, albo pośmiewiskiem ludzkości i nic im więcej — tylko podłe, marne, głupie bez celu życie zostało! Precz! Precz gnojaki, którym do życia świeżego oborniku potrzeba i — spokoju.

Zakrył twarz obiema rękoma i w niemej rozpaczy pogrążony siedział. Tłum ruszał się jak fala i wył.

— Ty nas doprowadziłeś do tego! Ty! — wołały dusze pokornych nędzarzy.

Król słyszał to wołanie, ale ból zdławił mu gardło, zamknął usta i odebrał mowę.

— — — — — — — — —

Podniósł głowę — i wzrok jego padł na wielką szybę lustrzaną, w której ujrzał znaną sobie dobrze postać Elżusi.

Zaniepokojona nieobecnością króla, szukała go po całym Zamku — i ujrzała drzemiącego w fotelu. Nie śmiała budzić — wzrok jej obudził go.

Król odetchnął szeroko, zmęczonym oddechem i na Elżusię spojrzał z uczuciem rozrzewnienia.

— Ach, straszne miałem widzenie...

Elżusia wzrok na jego twarzy zatrzymała.

— Jesteś wzruszony... Podaj mi królu ramię... chodźmy...

W kilka dni potem Stanisław August opuścił Zamek Warszawski na zawsze i przeniósł się do Grodna.

Na pamiątkę
7 stycznia 1795 roku.

prawie w każdym numerze. Przy każdej sposobności przemawiał w obronie prawdy i dobra, ocierał łzę nieszczęśliwym, zdzierał z „filantropa“ współczesnego maskę obłudy i wskazywał możliwe i rozumne drogi zbawcze.

Nie zapominajmy również, że tę działalność rozwijał człowiek od najmłodszych lat życia, złamany chorobą, tknięty wiecznym paraliżem. Pomyślmy, ile woli trzeba było, jakim płomieniem paliło się to życie wewnętrzne, które wytworzyło dość energii dla zdobycia wykształcenia wyższego i — stanowiska profesora. Przez lat 17 wykładał on w uniwersytecie berlińskim. Starczyło mu woli i cierpliwości, aby przez lat tyle prawie że codziennie kazać się zawozić na wózku do audytoryum, usadawiać na katedrze i wznosić z niej: starczyło tych uczuć, aby prócz wykładów z „logiki i teoryi poznania“ albo z „etyki,“ prowadzić jeszcze wykład publiczny o „historyi etyki“ — obliczonej na warstwy szersze słuchaczów z innych wydziałów i z ulicy. Na to może się zdobyć tylko wielki charakter.

Zasady jego filozofii nie powinny zajmować nas tu dzisiaj. Zapoznawano z niemi czytelników. Nie są one zresztą odmienne od tych, które wyznaje wielka szkoła etyków angielskich — oryginalne, niezrozumiałe. Są to zasady „eudemonizmu społecznego,“ najbardziej radykalnie pojętego, jasne i każdemu niezwykle łatwo do serca przemawiające. Kilka tylko notatek wystarczy, aby te rysy charakterystyki uwydatnić: „Stworzyć dobro i urzeczywistnić jego zwycięztwo — oto jest dzieło nasze, którego nie czyni za nas natura. — Człowiek rozwinięty zachowuje względem współbraci swoich, jako też względem całego wszechświata stanowisko jednakie, wolne, świadome siebie; to bowiem, co jest najwyższego w naturze, spoczywa w nim — wola...“ Tak oto brzmi dogmat: „zbuduj swe życie na celu moralnym,“ a tak znowu — nadzieja: „wierzymy, że przyszłe pokolenia będą lepsze i szczęśliwsze od nas..., że kiedyś zapanuje na ziemi państwo sprawiedliwości...“

Nie chodzi nam w chwili obecnej o tę szczyptę zasług, dla jakich wpuścic by miano Giżyckiego do panteonu nieśmiertelnych zdobyczy nauki, ale o człowieka, który siał „co dobre i wieczne i piękne,“ niepomny na swe siły karle, zniszczone, na zawiść i złość tych, z którymi walczył, lub do walki z nimi zachęcał.

Jest natomiast inne pytanie, ważniejsze może: dlaczego Giżycki pisał artykuły, wydawał pismo, dlaczego swe zdania w tłum ciskał, on, który o własnej sile zawlec się nie mógł z przed biurka do okna swego pokoju, aby spojrzeć na świat i ludzi... Zdaje nam się, że są dowody poważne, któreby dla zjawisk podobnych w świecie nauki, dziś już nader licznych (Huxley, Dargun, Guyau, Albert Lange), wskazać mogły tło wspólne. Gabinet uczonego obecnie zmienił nieco swój charakter dawniejszy. W celce mnicha nowoczesnego, zamkniętej od świata, czas wyrąbał okno, przez które płynie ciągła smuga światła dziennego, powiew z życia....

Leży przede mną z literackiej spuścizny po nim niewielka książeczka, w której pisał o Schoppenhauerze. I gdy tak rzucam po raz ostatni okiem na te książki, broszury i zapisane papiery, zanim kropkę postawię, jak gdyby sama z siebie, układa się grupa z tych dwu ludzi. Co za różnica! Jeden: sybaryta i egoista, który nigdy nie umiał sobie odmówić najdrobniejszej nawet rozkoszy materyalnej, niekiedy cynik, zarozumiały aż do bezczelności, surowy względem innych, pobłażliwy dla siebie — ten człowiek był apostołem niewiary w szczęście ludzkie, pesymizmu nieubłaganego. A tu po drugiej stronie: człowiek cichy, skromny, jak ewangeliczna anielica, altruista aż do zapomnienia, aż do wzgardzenia sobą samym. Giżycki, niby ślepy Dühring, piszący o wartości życia, marzył o szczęściu powszechnem, żądał go dla ludzkości, przepowiadał jej ostateczny tryumf. W tej różnicy, której zawartości nie wyczerpujemy tutaj, mieściła się duża suma nieśmiertelnych zalet duszy seraficznej, ktora uleciała od nas przed kilku dniami.

P. O. R.

Jeszcze o restauracyi *ruiny kościoła N. P. Maryi* w Inowrocławiu.

II.

Artykuł mój z nr. 9 „Przeglądu“ wywołał w nr. 62 „Kuryera Poznańskiego“ pożądaną odpowiedź od osoby obeznanej widocznie ze stosunkami inowrocławskiemi, zaopatrzoną różnemi cennemi objaśnieniami i mniej trafnemi wywodami, z którymi chciałbym w streszczeniu zapoznać czytelników „Przeglądu“, a potem udzielić na nie bezimiennemu autorowi kilka słów odpowiedzi.

Z repliki domyśliliśmy się, że wiadomość udzielona na czele zeszłego artykułu naszego za „Dziennikiem“ i „Kuryerem Poznańskim“ była niezupełnie trafną, gdyż pisma nasze codzienne, powtarzając ją w streszczeniu podług „Dziennika Kujawskiegó“ przedstawiły sprawę w niewłaściwem świetle, podając, iż podług planu na życzenie ks. Arcybiskupa przez prof. Rinklackego sporządzonego, przyjęto, że „z ruin miała być zbudowaną fasada“. Sprowadziwszy nr. 34 „Dziennika Kujawskiego“ przekonaliśmy się z niego, że nie plan kompletny, lecz „szkic“ ten prof. Rinklackego inaczej był obmyślany. „Kościół miał stanąć na starym cmentarzu; z ruin miała być *zachowana* fasada, a wieże, do dawnej wysokości odbudowane, stanowić miały front nowego kościoła. Kosciół nowy projektowany w stylu romańskim, przedstawiałby się we formie równoramiennego (greckiego) krzyża o 3 nawach, nad którego przecięciem wznosić się miała ze środka kościoła potężna romańska wieża.“ „Dziennik Kujawski“ uważa ten pomysł, do którego przedłożenia potrzeba było prawie 2 lat czasu, za świetny i polecenia godny i z żalem wyraża się, że ze strony rządowej doznał rekuzy. Pan minister oświaty uzasadnił odmowną swą odpowiedź tem, że w prowincyi, tak ubogiej w zabytki starożytne sztuki, jak nasza, żadną miarą nie może przyczynić się do rozwalenia kościoła, który sięgając początków XIII wieku, przedstawia się jako najstarszy zabytek sztuki romańskiej w naszych stronach. Zachowanie ruiny jest nadto nietylko życzeniem rządu i archeologów, którzy, jak naczelny konserwator z Berlina, Persius, tylokrotnie wskazywali na historyczną i archeologiczną wartość tej prastarej ruiny, ale nawet życzeniem społeczeństwa polskiego. Podczas obrad sejmowych domagali się przed kilku laty właśnie posłowie polscy bardzo stanowczo zachowania ruiny, nazywając barbarzyństwem i wandalizmem (sic!) myśl zburzenia tych świętych murów. Niemniej energicznie opierał się zniszczeniu ruin śp. ks. Arcybiskup Dinder — owszem, żądał od rządu funduszu na ich wyrestaurowanie i utrzymanie. To się też stało. Przed dwoma laty poprawiono żelazne drzwi i ponaprawiano mury — państwowym funduszem... Zważywszy nadto, że budując kościół na starem miejscu, zburzyć by trzeba tyle grobowców, naruszyć tyle grobów, ministerstwo nie może się przychylić do prośby parafian — tem mniej, ponieważ jest poddostatkiem wiele innych, równie pięknych miejsc pod nowy kościół.

Wobec tej najnowszej odpowiedzi p. ministra i wobec uchwał korporacyi kościelnych, które skutkiem tego zgodziły się już pono ostatecznie na obór n o w e g o miejsca pod n o w y kościół, sądzićby pozornie można za autorem repliki kuryerowej, że „wszelka dyskusya nad kwestyą przebudowania ruin kościoła Panny Maryi na kościół parafialny, nie ma już obecnie żadnego praktycznego celu.“ Ponieważ jednak to obmyślane miejsce pod nowy kościół nie zostało nigdzie zakupione, lecz wybrane w ogrodzie proboszczowskim, na wolnym placu, utworzonym przez dwie krzyżujące się ulice, cofnąćby więc tę uchwałę można bez żadnych trudności. Dalej rysunków dotąd jeszcze nie sporządzono pod nowy kościół, a ponieważ przy obecnym stanie rzeczy naprzód o „szkicach“, a nie o projekcie do nowego kościoła, mowa być może, sądzilibyśmy więc, że do uwzględnienia poruszonej przez nas idei przywrócenia ruinie odpowiedniego znaczenia obok nowego kościoła przy opracowaniu nowych szkiców pora jeszcze nie jest spóźnioną. W tem też przekonaniu do niej jeszcze raz powracamy.

Z wyjaśnień Kuryerowych dowiadujemy się, że „już od r. 1734 (ma być 1834!) tj od chwili gdy kościół N. P. Maryi spłonął, nie ustawano w zabiegach o odbudowanie tej prastarej świątyni. Zbierano składki, przygotowano nawet drzewo i sporządzono rysunki.“ Lecz co się z tem wszystkiem stało i dla czego zaczętego dzieła do żadnego nie doprowadzono końca, tego autor repliki nie podaje; wspomina tylko iż „w ostatnich latach upadł ten projekt już dla tego, ponieważ wobec olbrzymiego wzrostu parafii dla potrzeb parafian kościół tak mały aniby w części nie wystarczył.“

Parafia inowrocławska liczy obecnie około 14 tysięcy dusz; a „budowniczy powiatowy“ uznał przed 6 laty, gdy parafia 3 tysiące mniej, niż dzisiaj dusz liczyła, potrzebę takiego kościoła, któryby najmniej 1259 kwadratowych metrów obejmował. Podług dotychczasowego doświadczenia wzrasta w ostatnich latach liczba parafian w Inowrocławiu tak gwałtownie, że np. w ostatnim roku przybyło dusz 157. Wzrost ten idzie w parze z wielkim przemysłem fabrycznym, jaki się w ostatnich latach naokoło Inowrocławia wytworzył i zwłaszcza na lato mnóstwo przelotnego robotnika z obcych stron skupia w parafii inowrocławskiej. Wobec takich stosunków będzie zapewne nieuniknioną rzeczą pomyśleć wkrótce o budowie *trzeciego* kościoła; temu zaś chciano zapobiedz przez budowanie kościoła na 3000 nabożnych podług szkicu prof. Rincklake'go. Że projekt taki pośredni, dążący do wybudowania obszernego *nowego* kościoła na starem miejscu z zachowaniem najważniejszych (?) pod względem architektonicznym części ruiny“ nie mógł mieć powodzenia w oczach rządu, żądającego stanowczo zachowania ruiny, było łatwem do przewidzenia. A nie ostałby on się także i wobec krytyki kompetentnych znawców, gdyż przeinaczyć musiał zupełnie ruinę nie do poznania, tak że z głównych jej części, za jakie oprócz podstaw wieżowych i ściany nawowe uważać należy, zapewne nie wieleby co zostało na zewnątrz widzialnego, a znikałoby wobec nowego rozbudowania tak, że później niktby ani dopatrzyć się nie mógł, ani sobie wyobrazić, jak pierwotnie dawny kościół N. P. Maryi wyglądał. Pomijając już sam zbytek 3 kosztownych wież, przy kościele parafialnym wcale nie uzasadnionych, to i rodzaj rekonstrukcyi takiej za wręcz błędny uważać musimy i za nieodpowiadający nowszym zapatrywaniom względem zachowywania lub podtrzymywania starych zabytków z przeszłości. (C. d. n.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Obrazki zamorskie.

III.

Buffalo. Na ulicach drewniane, z prostych desek zbite baraki. To przyszłe biura odbierania głosów. Kampania wyborcza rozpoczęła się na dobre i oba wielkie stronnictwa, demokraci i republikanie, walczą o to, które z nich owładnie sterem rządów miejscowych. Wszyscy tu mówią jedynie o wzajemnych fortelach. Miasto oddycha polityką. Jestem w przejeździe i nie mam czasu przypatrzeć się fizyognomii obecnej chwili, a tem bardziej sprawdzić tego, co mi fama przynosi. Mam po szyję utyskiwań, że korupcya weszła do organizmu Stanów Zjednoczonych i toczy go w samem rdzeniu, że wielką rzecząpospolitą rządzi klika łapowników, którzy frymarczą dobrem publicznem. Nadmienić muszę, że obracam się w kołach inteligen-

cyi wychodźczej, która w nowej ojczyźnie jest jakby kropla oliwy na powierzchni wody — nie zlewa się z jej żywiołem. Rada municypalna, to zgraja opryszków, która przed niczem nie cofnie się, ażeby zapewnić zwycięztwo klice demokratycznej. Kluby, na wzór jakobinów, podczas wyborów teroryzują ludność, fałszują rezultaty głosowania, a przytem ustanawiają improwizowaną policyę, która ma oko na swoich i na wrogów. A ów boss Crocker, wielki kacyk stronnictwa demokrytcoznego, to łotr, jakiego chyba dotychczas słońce nie widziało! Niegdyś członek jednej z owych band ulicznych, która wszystkiem trudni się potrosze — od wyciągania sakiewek z kieszeni do opieki nad nierządnicami, później bokser szynkowy i właściciel podejrzanego „salonu“ (tj. knajpy), rzemiosła dawne zamienił na rolę arcyzbira politycznego. I opowieści o nadużyciach płyną po opowieściach.. Ktoś pokazuje mi na ulicy mężczyznę. Nieuk, ale zręczny, cięty w języku, wyćwiczony w umiejętności mydlenia oczu. Jest agentem demokratów. Począł od pozycyi prostego pionka i wznosi się coraz wyżej w hierarchii partyjnej. Prosty wyżeł przed paru laty, dzisiaj ubiega się o stanowisko aldermana. Ktoś inny bierze rzeczy do serca spokojniej, chociaż osobiście oberwał guza w poprzedniej kampanii. Ale sam jest politykiem, więc tem samem zgadza się z losem walki. Wie, że kto wczoraj był na wozie, może znaleźć się też pod wozem. Kiedy republikanie zwyciężyli, naówczas przy podziale łupu publicznego, otrzymał miejsce w urzędzie pocztowym; gdy demokraci wzięli górę, poszedł precz z innymi. Gazety obrzucają wrogów wszelkiego kalibru pociskami. Przeglądam organy republikańskie. Rysunek przedstawia organizacyę demokratów, znaną pod nazwą „Tammany-Hall“ jako krwi chciwego tygrysa, jej przedstawiciele figurują tam, jako zbóje przydrożni, szefowie zamyślają o wskrzeszeniu starożytnej tyranii plebejuszów nad wszystkiem, co wyrosło po nad motłoch. Są oni zdrajcami kraju, bo przed każdemi wyborami stwarzają mnóstwo obywateli nowych, nie mających pojęcia najmniejszego o konstytucyi kraju, i takich wandalów prowadzą do urny, ażeby rozstrzygali o przyszłości. Istotnie, demokraci w takich chwilach na wielką skalę kupują głosy wychodzców; polityczna ich potęga w okolicy jezior Wielkich, spoczywa na Irlandczykach i Polakach. Właśnie tylko co wyczytałem o jednym takim kandydacie, że podczas egzaminu, poprzedzającego przyjęcie, odrzekł jako nad Ameryką panuje cesarz Cleveland. Tego było zanadto i obywatelowi in spe kazano nauczyć się nieco konstytucyi nowej ojczyzny.

* * *

Pod wrażeniem atmosfery wyborczej w Buffalo, poczynam rozmawiać z kimś w wagonie o stosunkach politycznych rzeczypospolitej zamorskiej. Ów ktoś, to yankee z ojca praojca i jednocześnie demokrata — dwie właściwości, które na północy rzadko chodzą z sobą w parze. Idzie mi o zapatrywania rdzennego Amerykanina na politykę. Naturalnie, kładę nacisk na zepsucie. Yankee zżyma się na taką potwarz. Przyznaje, że w świecie polityków bywa różnie, — ale winę zwala na republikanów. Wyborcy bynajmniej nie są trzodą bezwiedną, taką rolę odgrywają tylko *scabs* emigracyjni. Ludności potrzeba, ażeby ktoś bronił jej interesów i chodził zabiegliwie a skrzętnie około prawodawstwa. Bierze więc nieponiów nawet, byleby wywiązali się z tego obowiązku. Lecz toleruje polityków, póki ci działają w zgodzie z potrzebami wyborców, gotowa ich porzucić kiedy skrewią. Że wyrzucają wrogów z posad i dzielą się urzędami, rzecz to małej wagi: ludzie, którzy czatują na senekury, są mało warci. Swój swego tam gryzie: republikanin — demokratę. Ale każdemu sprawiedliwość kark skręci, jeżeli dopuści się poważniejszych nadużyć. Dowodem niechaj będzie sprawa elmirska. Dyrektor tamtejszy lat wiele broił, puszczał w świat olbrzymie sprawozdania o rezultatach swojej działalności pedagogicznej względem więźniów. Sława reformatoryum w Elmirze rozbrzmiewała daleko: za granicą pisano książki o dodatnich skutkach nowej metody. A tymczasem działy się tam nadużycia jak największe: dyrektor katował winowajców i znęcał się nad nimi, nikogo nie poprawiał, raczej demoralizował. Sprawozdania owe, to humbug! Dzisiaj, kiedy to wszystko się ujawniło, wysoki dostojnik znajduje się pod sądem jako zwykły zbrodzień.

Zwolna namiętność polityczna ogarnia mego towarzysza. O! ten niecnota Mac-Kinley, który z innymi republikanami jest na żołdzie możnowładców przemysłu! A Harrinson, któremu kapitaliści kalifornijscy dali synekurę w uniwersytecie w San Francisco ten tchórz, który przed laty 30-tu zemknął z pola bitwy! Wyborcy republikańscy, to wielcy panowie, wydają duże pieniądze na stroje. To też demokraci zwyciężają, zwłaszcza, kiedy deszcz pada, arystokratom bowiem szkoda surdutów i nie idą głosować. Jeszcze później opowiada o fortelu swoich przyjaciół politycznych. Domy nierządu w New-Yorku nie mają prawa istnieć, ale z potrzeby są tolerowane. Pewien ksiądz, republikanin, postanowił wyciągnąć je na światło dzienne, i pozwać przed sąd radę municypalną, demokratyczną. Udał się więc z „detektywem“ tj. agentem prywatnego przedsiębiorstwa tajnej policyi, aby wyszukać te nory. Ale ów agent, demokrata szczery, doniósł swoim o grożącem niebezpieczeństwie. Zanim więc sprawa poszła była do sądu, *World* narobił hałasu o demoralizacyi pomiędzy duchowieństwem: opisał wędrówki księdza, nawet podał jego portret w otoczeniu tańczących nagich kapłanek Izydy. Jakże nierząd nie ma istnieć, zapytuje dziennik, skoro posiada podobnych opiekunów. Duchowny został raz na zawsze skompromitowany. Yankee kończy swoje swoje opowiadanie wybuchem śmiechu, później niby punkt na końcu zdania, dodaje: *All right?*

* * *

Ulica nr. 14 w New-Yorku. *Tammany Hall*, tj. dom klubu demokratycznego i zarazem ognisko najpotężniejszej kliki politykerów, nie cofającej się przed niczem, kiedy idzie o postawienie na swojem. Zywioły o najdrapieżniejszych instynktach czyhają tam, zorganizowane na wzór armii, i łupią municypalność nowojorską. Istna banda opryszków — przyznają to nawet przyjaciele Cleveland'a, nie tak nieskrupulatni. *Boss*, „pryncypał“, stojący na jej czele, był szynkarzem i bodaj że paserem, w knajpie jego schadzały się różne wyrzutki. *Tammany Hall* bez skrupułu zapuszcza swoje pazury w dobro społeczne. Municypalność nowojorska w jego ręku, wielu członków ciała prawodawczego jest kością z jego kości. Przeprowadzają oni mnóstwo bilów tylko po to, ażeby ich niespełniano. Powstaje moc drobnych przepisów, nader uciążliwych dla szynków, domów nierządu, jaskiń gry, nawet dla zakładów przemysłowych. Wszystkie te instytucye opłacają stały haracz klubowi, przez niego wyznaczany. W razie odmowy, jeden ze stróżów prawa przypomina, że tekst przepisu istnieje w zbiorze bilów obowiązujacych. Każdy urzędnik demokrata równie składa z swej pensyi stałą kwotę podatkową. A opłata, ściągana w ten sposób z jakiej firmy wynosi kilkanaście, nawet kilkadziesiąt tysięcy rubli rocznie. Słowem, organizacya rozporządza dużemi funduszami i jej *bossowie* żyją jak magnaci, chociaż nie sieją, ani orzą. Dawniej rzezieszek odpowiadał głową za rozbój, który mu przyniósł parę dukatów, dzisiejsi zbóje mieszkają w pałacach i krajem rządzą. Organizacya jest zwartą i karną, niby armia. U dołu stoi wielka rada, złożona z 5 tysięcy członków i regularnie zbierająca się co miesiąc. Każda dzielnica miasta wysyła liczbę, proporcyonalną do obfitości żywiołu demokratycznego. Rada wybiera z siebie sztab główny, z 60 członków, na którego czele stoi *boss*, posiadający nieograniczoną władzę wykonawczą, bo prawodawcza zależy od rady i sztabu.

Listy kandydatów, bile przyszłe do wniesienia w ciałach prawodawczych kraju, pomysły różnych fortelów, wszystko to pochodzi z łona komitetów specyalnych wielkiej rady, przetrawione w sztabie głównym i ostatecznie przyjęte, lub odrzucone przez „pryncypała“. Biada mu, jeśli błąd popełni — na jego miejsce czyha mnóstwo tygrysiąt! Sztab ów rozporządza oddziałem dojeżdżaczy — „kapitanów“, których jest przeszło tysiąc w Nowym-Yorku. Każdy pobiera żołd stały; jeśli dowiedzie swoich zdolności, czeka go karyera polityczna. Kapitan zarządza pewną dzielnicą, w której zna każdego demokratę. Co miesiąc składa do sztabu raport, który z tych demokratów umarł, lub przeniósł się gdzieindziej, kto przybył natomiast, lub został zwerbowany; jakie osoby pozyskują wpływ i czy można na nie liczyć. Według tych danych klub z góry oblicza, ile głosów może otrzymać w dzielnicy wyborczej. Jeśli okaże się mniej, to kapitan zostaje uznany za niezdolnego. Zwykle bywa on szynkarzem i w knajpie swojej przy absyncie obrabia interesy polityczne.

Tammany Hall hołduje w doborze swoich zastępów zasadom wolnej konkurencyi. Droga tam otworem stoi dla talentów. Nie pyta się o przeszłość, zwraca uwagę tylko na zdolności. Człowiek, najbardziej zbrukany w życiu, może być przyjęty i w miarę zasług wywyższony. Daje to organizacyi niezwykłą sprężystość, ale też pozbawia ją do szczętu skrupułów moralnych.

Towarzysz, oprowadzający mnie po klubie i opowiadający o tych szczegółach, to świeżo upieczony obywatel, obdarzony sporym zmysłem politycznym i jeszcze większą namiętnością. Nie jest ani demokratą, ani republikaninem, a przecież nie może ukryć wrażenia, jakie na nim wywarła agitacya obu tych stronnictw. Powiada, że dostał wprost gorączki narodowej, będąc świadkiem przeglądu zastępów demokratycznych, odbytego przez Clevelanda, podczas kampanii, która go wyniosła na prezydenta. Kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn przedefilowało wtedy przed swoim przewódzcą, sędziwi starcy szli w ordynku obok swoich wnuków. Rzęd sunął po rzędzie, dzielnica po dzielnicy, mając przed sobą z boków hufce dzieciaków. Zastępy maszerowały przy odgłosie śpiewu, który w paru wyrazach streszczał hasło, jednoczące w zwartym orszaku tyle głów. W takt muzyki brzmiała strofka bojowa!

Four, four
Years more!

tj. jeśli przegramy sprawę, jeszcze przez lat cztery będziemy musieli dźwigać republikańskie jarzmo polityki celnej. Ożywienie tłumów, solenne dźwięki marsza, łączność różnych pokoleń świadczyły, że ów pochód jest czemś więcej, niż popisem kliki politykerów. I republikanie podobnie maszerowali, tylko że inny *refrain* towarzyszył uroczystości:

Tin, tin,
Wil, win!

tj. „blacha wygra“ — z powodu bilu Mac-Kinleya w Ameryce rozwinęła się produkcya tego przedmiotu, dotychczas nie istniejąca. Blachę więc wzięto za symbol dodatnich skutków polityki celnej.

A takie pochody odbywały się wszerz i wzdłuż kraju. Malcy dziesięcioletni szli obok ojców, ucząc się szanować sztandar, pod którym walczyli dziadowie. Czas wyborów jest nieustającą uroczystością dla dziatwy. Nocami buchają ogniska na ulicy. Mały obywatel kradnie schodki z pod domów, rozbiera parkany, wyciąga deski z chodników i rozpala stosy, lub też śpiewając *four, four years more*, szturmem bierze ognisko wrogów. A kiedy partya „jego“ zwycięży, nie ma uciesze granic.

Należenie do partyi nie jest więc czczym wyrazem. Stronnictwa są zbiorem spokojnych obywateli, którzy za pomocą prawodawstwa chcą bronić swych interesów. Walkę zaś pozostawiają politykerom, swojego rodzaju zbirom. Niechaj ci intrygują i toczą wojnę, niech nawet popełniają nadużycia — ale w pewnych granicach. O tem wie polityker. Będzie rozdawał posady, ściągał podatki z domów nierządu, ale nie tknie szkolnictwa, cofnie sie przed zgwałceniem sądu, nie skrzywdzi obywatela, który żyje z czego więcej, niż z szulerni i szynku, nie podniesie ręki na konstytucyę ojczyzny. Bo wtedy jego własna partya zwróci się przeciw niemu.

K. R. Żywicki.

O prawdę.

W sprawie *dr. Kusztelana* nadesłał nam korespondent nasz S. S. wyjaśnienie. potwierdzające w całej rozciągłości wszystkie zarzuty, zawarte w artykule p. t. „Przyczynek do naszej solidarności narodowej“ (Nr. 8). Ze względu jednak na wątpliwości, które stanowczość zaprzeczenia p. *dr. Kusztelana* wzbudzić musiała, udaliśmy się do jednego z najpoważniejszych, ogólnie szanowanych i zasłużonych uczestników wiadomego zebrania z prośbą o najdokładniejsze. bezstronne informacye w sprawie podniesionej przez pismo nasze. Na list nasz odebraliśmy odpowiedź następującą:

Szanowny Panie Redaktorze!

Posłuszny wezwaniu Twojemu pospieszam zabrać głos w kwestyi, której traktowanie jest zaiste smutnem świadectwem naszej opinii publicznej. We wszystkich głównych punktach, a mianowicie co do ułożenia *poprzedniego* listy kandydatów polskich bez żadnego protestu i co do zerwania solidarności przez p. dr. Kusztelana i p. N. K. przy publicznych wyborach w hotelu rzymskim wobec postawionych wniosków polskich, — *jest prawdą to, co „Przegląd Pozn.“ napisał.*

Teraz pozwalam sobie sprostować w głównych punktach „sprostowanie“ czyli raczej *wykrzywienie* p. dr. Kusztelana. W szczegóły nie wchodzę najprzód dla tego, że uginam się pod nawałem zajęć publicznych, potem dla tego, że nic nie znaczą, a w końcu, że nie trzeba nadmiarem szczegółów odwracać uwagi od *zerwania solidarności.* Zresztą rezerwuję sobie również sprostawanie szczegółów na później. gdyby była potrzeba.

Na sali zgromadzonych było 8 Polaków i 8 Niemców uprawnionych do głosowania, — liczę do Polaków także i pana N. K. który ani na poufnem zebraniu ani w sali nie oświadczył nikomu z nas, iż nie ma prawa do głosowania, a wiedzieć o tem nikt z nas nie potrzebował, gdyż tak specyalnie ani pan N. K. ani jego włości nikogo nie obchodziły, aby miał się o tem dowiadywać: *Zresztą, skoro p. N. K. mimo to, że nie miał prawa, użył tego bezprawia aby po dwakroć głosować za Niemcem, toć* każdy obecny *miał prawo przypuszczać, iż pan ten legalnie postępuje. W każdym razie, jeśli wbrew prawu głosował na Niemca, to tak samo mógł wbrew prawu głosować na Polaka; z tego widoczne, że panu N. K. i adherentom tak bardzo chodziło o wybór Niemca, iż nawet nielegalności, o której niewiedzieliśmy wówczas, użyli* Wybór p. Grassmanna na dyrektora odbył się w ten sposób:

Gdy p. Grassmann zagaił wybory, zapytał się pan N. K., kto był dotychczas dyrektorem. Na odpowiedź, że jest nim p. Grassmann, zawołał: „Prosimy, aby pozostał! i przez *akklamacyą* wybór zaproponował. Wtórował mu pan dr. Kusztelan. Wtedy to, oburzony tem gwałtownem gardłowaniem powyższych panów za Grassmanem, wystąpił p. Niegolewski z wnioskiem, aby tym razem wybrać Polaka na dyrektora i zaproponował p. Głębockiego z Czerlejna Uczynił to przy zapytaniu przewodniczącego, czy zgromadzenie propozycyą pana N. K. et consortes przyjmuje — wystąpił więc w zupełnie odpowiedniej chwili. *Ten wniosek p. Niegolewskiego został formalnie zakrzyczany przez głosy pana N. K. i dr. Kusztelana, którzy z energią, godną lepszej sprawy, bezustannie wołali, że wybór przez akklamacyą dokonany, że p. Grassmann już wybrany etc.* Pan Niegolewski pod wrażeniem tych krzyków naszych rodaków zamilkł, — a p. poseł Głębocki pod tem samem wrażeniem. niechcąc tej gorszącej sceny przedłużać, zrzekł się kandydatury i tak był oburzony tem niesłychanem zachowaniem się Polaków, iż chciał opuścić salę. Z tego opisu wynika, iż nad wnioskiem p. Niegolowskiego nie było wcale głosowania, gdyż pp. N. K. i dr. Kusztelan go zakrzyczeli a p. Głębocki wskutek tych krzyków kandydatury się zrzekł. W chwili gdy p. poseł Głębocki zamierzał opuścić salę przyszła mu myśl, iż może osoba jego taką niechęć w tych panach wzbudza, że się mogli do tego stopnia zapomnieć. Postanowił zatem wytrwać do końca i w celu przekonania się o tem postawił, gdy pan Grassmann zagaił wybór delegata do Berlina i gdy znów pan N. K. po zadaniu tego samego pytania i odebraniu tej samej odpowiedzi, co poprzednio, zaproponował, aby powtórnie przez akklamacyą wybrano pana Grassmanna na delegata, z swej strony wniosek, aby na delegata wybrać p. Niegolewskiego z Niegolewa. Postawił go w ten sposób, że nie kusili się wcale wiadomi panowie o zakrzyczenie go: — *przyszło do głosowania, przy którem wniosek p. Głębockiego upadł przeciwko głosom Niemców i pp. N. K., dr. Kusztelana i jeszcze trzeciego, którego nazwiska nie pamiętam.* Wybrany więc został na delegata p. Grassmann z Koninka i tenże w charakterze powyższym był obecnym na walnem zebraniu w Berlinie. Twierdzenie p. dr. Kusztelana, że delegatem wybrany został Polak jest prostym wymysłem. Następnie zaproponował p. Głębocki przepadłego p. Niegolewskiego na *zastępcę delegata* i tu jednogłośnie przeszedł. Z opisu powyższego jasno wynika, że sprostowanie p. dr. Kusztelana jest po prostu nieprawdą. — Z opisu tego wynika niestety i ten fakt smutny, że znalazło się kilku Polaków, którzy na publicznem zebraniu, w kwestyi, przy której chodziło o przeciwieństwo Polaków do Niemców, zerwali solidarność, stanąwszy po stronie Niemców przeciwko Polakom. — Ten postępek nie da się żadnemi wybiegami osłonić, gdyż, choćby i było mniej Polaków na sali niż Niemców, *to, skoro został polski wniosek naprzeciw Niemcom postawiony, obowiązkiem każdego Polaka było głosować za swymi bez względu na to, czy wniosek przepadnie lub nie.*

Kto inaczej postępuje, ten nie ma wyobrażenia albo o tem, co jest solidarność, albo o tem, co jest obowiązek solidarności.

I tem nie może p. dr. Kusztelan postępowania swego osłonić, jakoby chciano tym pięknym „manewrem“ zachować miejsca *zastępców dla Polaków. — Najprzód urzęda zastępców nie mają najmniejszego znaczenia, gdyż nie zdarzyło się jeszcze, aby kiedykolwiek zastępca przyszedł do wykonania swego urzędu.* — zachowanie więc takich urzędów dla Polaków doprawdy nie było warte tak „bohaterskiego“ poświęcenia się tych panów i tak wysokiej dyplomacyi; po drugie, Niemcy z całą gotowością zawsze wybierali w tem zgromadzeniu na zastępców Polaków bez przyczynienia się tych panów, których na przeszłych zebraniach wcale nie było, — z tej prostej racyi, że nie chcieliby Polaków zanadto krzyczącą niesprawiedliwością do tego doprowadzić, żeby z Towarzystwa wystąpili, — a jeżeli w tym względzie zaszedł jaki wyjątek kiedykolwiek, to przemawia on przeciwko argumentom p. dr. Kusztelana; i tak n. p. w przeszłym roku, gdy nie było żadnej opozycyi polskiej przeciwko Niemcom, wybrano na zastępcę delegata Niemca Senftlebena. W tym roku, gdzieżeśmy taki protest podnieśli, że tylko Niemców wybierają, Niemcy nie tylko się o to nie rozgniewali na nas, ale pod naciskiem naszych wniosków zrzucili p. Senftlebena i wybrali p. Niegolewskiego na pierwszego zastępcę delegata; nie uczynili zaś tego w uznaniu zasług pp. N. K i dr. Kusztelana, jakby to można z pisma tego ostatniego wnosić! Mówiąc na seryo, nie byłoby w takiem przypuszczeniu już dla tego sensu żadnego, ponieważ Niemcy, mając w zgromadzeniu większość, jak twierdzi p. dr. Kusztelan, nie potrzebowali wcale pomocy tych trzech Polaków do przeprowadzenia swych kandydatów na dyrektora i delegata, — a tem samem nie mogliby uznać takiej zasługi. — Tu się p. dr. Kusztelan sam zbija nie wiedząc o tem. Że pomienieni Polacy zasłużyli się w owej sprawie wobec interesowanych Niemców, o tem nie wątpię, ale o tem musimy wątpić, czy zapłatą za tę zasługę było wyniesienie Polaków do wątpliwej godności zastępców urzędników Niemców.

Zwracam Szanownemu Panu Redaktorowi zresztą uwagę na charakterystyczny sposób obrony p. dr. Kusztelana, który w sprostowaniu swojem tak uzasadnia głosowanie swoje za Niemcami: „A uczyniłem **to i dla tego także**, aby nie narażać na oczywisty szwank wyboru delegatów“. Ciekawem byłoby dowiedzieć się jakie są te i n n e i g ł ó w n e przyczyny, które skłoniły p. dr. Kusztelana do zerwania solidarności narodowej.

Dodaję jeszcze dla uzupełnienia opisu, chociaż to rzecz poboczna, że zrzeczenie się kandydatury na dyrektora przez p. Głębockiego wobec krzyków pp. N. K. i dr. Kusztelana, nie nastąpiło wprost, lecz przez to, że przyjął kandydaturę na zastępcę, na którego też został wybrany. Minimalne, nieomal fikcyjne znaczenie tego urzędu wykazałem powyżej.

Za autentyczność podanych informacyi ręczę słowem honoru i odwołuję się na świadectwo pp. Niegolewskiego i posła Głębockiego.

Z głębokim szacunkiem
N. N,

NA WYŁOMIE.

(*Nowy kwartał. — Lament „Kuryera Pozn.“ — Nieco o Atenach i Beocyi. — Harde dusze. — Rejterada.*)

Z dniem pierwszego kwietnia kończy rok 1895 swe chłopięce dzieje, a pisma poznańskie utartym zwyczajem witają solenizanta. Czarna obwódka i posępny napis: „Czas odnowić przedpłatę“. A potem sprytna redakcya osładza gorzką pigułkę miodem najsłodszych obietnic. Jedna zapowiada Sienkiewiczowskie „Quo vadis“, inna znów zwierza się z wstydliwym rumieńcem, że sympatyczny *Maryan Gawalewicz* poprzysiągł jej miłość wieczystą i u nóg bogdanki pióro swoje złożył, a trzecia wreszcie, woła olimpijskim basem: „Biłam żydów i bić będę, jeno lepiej — łupu cupu!“ Cóż ja wam powiem w imieniu „Przeglądu“? Mamże na wzór „Kuryera Poznańskiego“ opowiadać z bolesnym uśmiechem męczennika, że świat cały „pragnie do trumny nas złożyć, a my wcale ochoty umierać nie mamy“. Nie! rozczulać was nie chcę przyjaciele moi. Straszne opowieści o złych ludziach, czyhających na zagładę bliźnich, macochach-czarownicach, siostrach i braciach wyrodnych, pozostawiam w tym dniu świątecznym, w którym rok jeden mija od chwili narodzin „Przeglądu“ — babom z pod kościoła i „Kuryerom poznańskim.“ Przeciwnie! dziś mi wesoło na duszy. Obliczam plony zebrane w calorocznej pracy i walce, wsłuchuję się w gwary opinii publicznej, analizuję głosy poważnej krytyki i widzę, że ofiary nasze, ból i trudy, nie poszły na marne. „Wyłom“ zrobiony, atmosfera czystsza, ludzie zaczynają wierzyć w te młode siły, które, nikogo o „list żelazny“ nie prosząc, do dzieła reformy przyłożyły rękę. A nie mogę sobie odmówić przyjemności, aby na tem miejscu nie przesłać uścisku dłoni braterskiej tej wielkiej drużynie pisarzy polskich, która błogosławieństwem witała nasze „Ateny w poznańskiej Beocyi“ — jak w liście noworocznym mówi nam jeden z krzewicieli literatury i wiedzy ojczystej. Może to nie wypada prezentować publicznie myrrhy i kadzidła, składane na biurku redakcyjnem, ale jest pewien symptomatyczny objaw w tych skłóconych melodyach, które huczą nad głową „Przeglądu“. Literatura i prasa innych zaborów widzi w nas źródło życia nowego na jałowem polu, źródło, tryskające po dwudziestoletniej suszy w dziedzinie poznańskiego piśmiennictwa, — rozbudzenie „głuchej krainy, z której Apollo na łeb i szyję uciekał, bo pięknu marzło w mętnych wodach dziennikarskiej tandety, politycznej jednostronności i dyletanckiej krytyki małych, wyższych i najwyższych powag wielkopolskich.“ A cóż mówi nam „wielka“ prasa tej ciaśniejszej ojczyzny, której służyć pragniemy, — cóż mówi społeczeństwo, które do życia wołamy. Dziwne, przedziwne to głosy: „Któż wam dał mandat zakładania pisma? Nie chcemy nowych dróg i świateł, bo w starem błocie i starej nocy wygodnie. Jesteście alarmistami i burzycielami. Importujecie obce wyobrażenia. My żadnych nauk nie potrzebujemy. Jesteście za młodzi, aby uczyć starych. Piszecie pięknie, ale to nas właśnie irytuje, bo niebezpieczeństwo ztąd rośnie. Przewracacie w głowach młodzieży humanitarną pobudkę. Odrywacie ją od studyów

zarobkowych. Głosicie bunt synów przeciw ojcom i wykolejacie młode pokolenia. Wasze ideały nikomu chleba nie dadzą. Niech się inni bawią w piękno, niech sobie gonią zagadki bytu i zdobyczami wiedzy europejskiej się pieszczą, — my Poznańczycy pragniemy tylko, aby nam nikt nie mącił spokoju i nie tykał tego, co utarte i uświęcone.“

Tak mówią „oni“ od samego początku istnienia naszego, a w głosach tych czuć najwyraźniej strach upadających wielkości, — trwogę Ibsenowskiego Solnessa, który blady, jak ściana, wyciąga rękę i woła, że „młodzież puka już do drzwi“. O! i my mamy naszych Solnessów. Zrazu mówili nam; „Nie rwijcie się młodzi! Czekajcie, aż my damy impuls.“ Potem zawrzeli gniewem, że ktoś bez sankcyi augurów buduje nową świątynię. Wreszcie rzucili klątwę... Wśród królików był jeden, co tron swój zbudował na niedołęstwie i apatyi społeczeństwa. Jest on zazdrosny, zamknięty i sprytny, lecz miewa niekiedy chwile wynurzeń. Pamiętam, mówi raz do mnie: „Strychulec jest podstawą władzy. Gdy ktoś łeb wytknie nad innych, zduszę go zręcznie i zrównam z poziomem. Tem stoję i ster dzierżę w rękach.“ Dowcipny augur! Nienawidzi nas, bo nikt go nie prosił o stempel i królik poznański do chrztu nie podawał dziecięcia naszego. Ale dziecię jak na złość rozwija się i rośnie, — biedny ten Solness!

Bez lamentów więc i męczeńskich grymasów wstępujemy w rok drugi istnienia naszego. Kark u nas twardy, nie ugiął się i wytrzyma jeszcze różne nawałnice. Tej hardości i twardości życzyłbym społeczeństwu mojemu w śmiertelnym boju, który go czeka już w najbliższym czasie, — życzyłbym jej ks. arcybiskupowi Stablewskiemu, bo wiem, że przykład prymasa oddziałać musi silniej, niż nasze wołanie, na szerokie tłumy.

Jeżeli zaś w tej chwili właśnie pod tak wysokim adresem wysyłam marginesową notatkę moją, to słowa spadają na papier pod świeżem wrażeniem głośnego zajścia z towarzystwem zabezpieczeń w Schwedt. Jak wiadomo zawarł ks. arcybiskup z towarzystwem tem umowę, na mocy której zobowiązał się zabezpieczyć w Schwedt parafialne ruchomości i nieruchomości archidyecezyi gnieźnieńsko - poznańskiej, jeżeli zarząd zdecyduje się powierzyć agenturę katolikowi, władającemu polskim językiem i mieszkającemu w Poznaniu, oraz ofiarować 10 procent bonifikacyi do kasy kapitulnej. Kontrakt podpisano. W tej samej chwili jednak wszczęła się w niemieckim obozie za inicyatywą trzech inkwizytorów K. H. T. burza hałaśliwa, pełna piorunów, wichrów i błyskawic. Zaczęto wołać że Towarzystwo w Schwedt zdradza sprawę niemiecka, że popiera polonizacyę kresowych prowincyi, że działa przeciw interesom państwa i protestantyzmu, — jednem słowem sporządzono straszliwy akt oskarżenia, wypisując na czele znamienne słowa: „**K**-ał, **H**-ańba i **T**-rąd!“ Zlękło się nieco towarzystwo Schwedt burzliwych napaści, uląkł się i arcybiskup teutońskich hałasów, namyślano się chwilę i za wspólną zgodą zerwano umowę.

Przyznaję otwarcie, że niemile uderzyła mnie ta „miękkość“ ks. arcypasterza, bo lękam się, że buta niemiecka na takim gruncie wzrośnie jak na drożdżach. My Polacy grzeszyliśmy dotychczas konsekwentnie zbytkiem „uprzejmości“ i tą słowiańską chwiejnością, która rozzuchwala różnego kalibru brytany. „Liebenswürdige Leute“ mówią o nas Niemcy, a w duchu dodają „Schwächlinge“. Wobec krzyków niemieckich rozedrzeć kontrakt, to znaczy tyle, co rozpętać bezwstydność naszych najserdeczniejszych. Udało im się raz zakrzyczeć słuszność i wygardłować tryumf, — poczekajcie! spróbują drugi raz i dziesiąty, — zuchwalsi z dnia na dzień i bezwstydniejsi z dniem każdym.

Precz więc z kurtuazyą i miękkością polską, — żeby im pokaźmy!

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Piast i Kościuszko *przez Janka z Grzegorzewic. Z rycinami. Poznań 1895. Nakładem K. Kozłowskiego.* Pod tym tytułem wyszła w tych dniach z druku nie wielka co do objętości, ale bardzo pożyteczna, nadobna i miła co do stylu, a co najważniejsza — nacechowana zacną tendencyą książeczka, którą z tego ostatniego właśnie względu ofiaruje narodowi polskiemu wydawca w setną rocznicę politycznego upadku Polski.

Ta to bolesna rocznica powinna była natchnąć niejednego z naszych pisarzy myślą dania narodowi obszerniejszego dziełka, które przedstawiłoby obraz upadku wielkiego niegdyś państwa polskiego i wskazało prostą, jasną i bitą drogę podźwignięcia się z tegoż upadku. Do nakreślenia wszakże takiego obrazu potrzebaby głębszych studyów i czasu dłuższego. To też autor i wydawca, nie rozporządzając tak obfitym materyałem, pragnąc atoli koniecznie choć małą dorzucić cegiełkę do tego bardzo trudnego przedsięwzięcia, dali to tylko, na co ich stało.

Mimo to wszystko, broszurka Janka z Grzegorzewic, choć i w tych nader szczupłych ramach, zaspokoić może pod każdym względem daleko idące wymagania inteligentnego i z dziejami obeznanego czytelnika. Nie jest to *multa*, ale zawsze *multum*, bo w książecce o 57-miu stronach w oktawce dać ogólne, ale zawsze jasne pojęcie rozwoju i upadku narodu i uczynić ją zajmującą dla czytelników, ku temu potrzeba większego talentu pisarskiego i nie małej znajomości ducha dziejów naszych ojczystych. Książeczka jest tak napisana, że ją z wielkiem zainteresowaniem czytać może nietylko gruntowny znawca historyi polskiej, ale i każdy rodak, chociażby dzieje nasze były mu znane w najogólniejszych tylko zarysach.

Rzecz oczywista, że tego rodzaju pracę potrzeba było w odpowiednię przyoblec szatę, i tu autor okazał wielką bystrość w dobraniu stosownego kształtu, nadając mu barwę wielce nęcącą, zaznaczając na każdym kroku rutynę i talant artystyczno-pisarski.

Żadną przeto miarą nie można zastósować do niego zasadę, którą w swej skromności niejeden z pisarzów zwykł się posługiwać: *„in magnis voluisse sat est* — bo *„Piast i Kościuszko“*, to dobra nowelka, oryginalna, a mająca tem większą wartość, bo osnuta na prawdziwych faktach historycznych.

W krótkiej naszej wzmiance krytycznej niemożliwem nam jest biedz krok w krok za przewodnią myślą autora, baczniejszy nieco czytelnik zrozumie tendencyę jego narodowo-demokratyczną i pozna to, co główną stanowi podwalinę odrodzenia kraju naszego. Utwór Janka z Grzegorzewic polecamy usilnie Towarzystwu Czytelni Ludowych. *L. z Ł.*

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Ks. arcybiskup Stablewski ogłosił w „Kościelnym dzienniku urzędowym“ odezwę do duchowieństwa, piętnującą wyraźnie insynuacye i obelgi posła Tiedemanna z Babimostu, wymierzone przeciw jego własnej osobie i podwładnemu klerowi. Ks. arcybiskup zaleca duchowieństwu zaniechanie dalszych sprostowań w sprawie kłamliwych twierdzeń wspomnianego posła. — Katolicy niemieccy w W. Ks. Poznańskiem założyli protest uroczysty przeciw narzucaniu się posła Tiedemanna na opiekuna ich interesów wyznaniowych i wyrazili w formie adresu zupełne zaufanie do arcypasterza swego. — Pogłoska o spodziewanej nominacyi hr. Herberta Bismarka na ambasadora niemieckiego w Petersburgu nie potwierdza się. „Post“ donosi, że urząd ten otrzyma hr. Osten-Sacken. — Wojna między oficerami a redaktorami w Madrycie trwa w dalszym ciągu. Wszystkie redakcye obwarowały biura swoje przeciw ponownym napaściom. Rząd staje wyraźnie po stronie napastników wojskowych

Teatr i muzyka. Poniedziałkowy wieczór wokalno-humorystyczny, urządzony na sali Bazarowej przez panią A. Zimajer i pana A. Zawadzkiego, zgromadził dość liczną publiczność. Wdzięk słynnej diwy operetkowej wywierał znany swój urok na widzów, — p. Zawadzki natomiast jedynie monologiem „nauczyciela szkół ludowych“ wzbudził żywsze zainteresowanie. — W ubiegły czwartek wznowiono na scenie naszej rozwlekły dramat Kozłowskiego p. t. „Kazimierz i Esterka“. Publiczność nader skąpo zapełniła krzesła i loże. Z artystów zasługują na uznanie pp. Skirmunt, Królikowski. Rapacki, Sosnowski, Wróblewska i pełna poezyi Helena Zimajer. — Trupa polska, występująca przez dłuższy czas w Petersburgu, bawi obecnie w Rydze, gdzie doznaje znacznego powodzenia. W lecie osiędzie towarzystwo to pod kierownictwem Lucyana Dobrzańskiego w Warszawie, w teatrzyku „Wodewil“. — Poznańskie towarzystwe dramatyczne zabawi w mieście naszem do 1 maja. — „Towarzysz pancerny“, komedya M. Wołowskiego, nagrodzona na konkursie galicyjskiego Wydziału krajowego. wystawioną zostanie 27 bm. we Lwowie — O koncercie rodaka naszego p. Bernhardta w Berlinie, tak się wyraża znany z surowego sądu krytyk niemiecki Wilhelm Tappert: „Również w Sali Bechsteina po raz pierwszy wystąpił z własnym koncertem śpiewak p. Rodolfo Bernardi. Nazwisko włoskie nie wprowadza mnie w błąd co do narodowości artysty; jestto pewnie Polak, który odbył studya na południu. Z wyjątkiem kilku nierówności wymowa języka niemieckiego jest dobra i wyraźna, najbieglej jednak brzmiał język włoski, jak się przekonałem z nadzwyczaj efektownie odśpiewanego Prologu z op. „Bajazzi“. Organ z natury może trochę szorstki, potężny bas-baryton w doskonałej kształcony szkole, był prawie za silny na salę; mojem zdaniem nadaje się więcej na scenę, tam silny głos i silne efekta są na miejscu. Obecna publiczność z niezwykłym zapałem wyrażała swoje zadowolenie z siłą tryskających tonów Po odśpiewaniu Schumanna „Dwóch grenadyerów“ zmuszony został koncertant hucznemi oklaskami do odśpiewania nadprogramowej pieśni. Pan Bernardi dużo się nauczył i stara się śpiewać z uczuciem i ekspresyą.

Literatura i sztuka. „Berliński Tageblatt“ (z dnia 20. lutego 1895) tak charakteryzuje rzeźby artysty naszego Wład. Marcinkowskiego znajdujące się na wystawie w Berlinie:

„Z dzieł sztuki plastycznej odznacza się wybitnie kilka portretów w płaskorzeźbie Polaka Wł. Marcinkowskiego. Jest on mistrzem w stylu. I tak n. p. nie wymodelował portretu pani Parlaghy z realistyczną wiernością, lecz jako podziwu godne studyum, czarujące w pięknych linjach profilowych i miękkiem zaokrągleniu form. Tonowanie głowy i włosów w dwóch odcieniach wywiera swą subtelną delikatnością i kontrastem do barwy naturalnej marmuru w fragmencie sukni, wrażenie nadzwyczajnej szlachetności. W portrecie ks. arcybiskupa Stablewskiego występuje więcej realistyczne traktowanie, ale i tu złagodził artysta ostrość nader wyrazistych rysów. Ten sam rzeźbiarz zaprezentował nam jeszcze trzy główki dziecięce pełne życia i wdzięku.

Zjazdy i kongresy. Zjazd galicyjskich Towarzystw prawniczych odbędzie się 29 i 30 czerwca w Stanisławowie.

Zmarli:

Baron Schorlemer z Alst, słynny poseł stronnictwa Centrum, zmarł 17. marca.

Leontyna Halpertowa, głośna swego czasu artystka dramatyczna, zmarła 20. marca:

Leopold Sacher-Masoch, znany nowelista austryacki zmarł przed kilkunastu dniami. Jego typy postaci męzkich i kobiecych zszeregował znany psychjatra doktor Kraft-Ebing pod osobną rubryką „Sacher-Masochismus.“

Cezar Cantu, jeden z najsławniejszych dziejopisarzy włoskich, zmarł w Medjolanie przed kilku dniami.

Odpowiedzi Redakcyi.

K-Ro-F. 1) Korespondent nasz petersburgski opuścił stolicę rosyjską i dla tego „Listy z Petersburga“ nie pojawiają się w „Przeglądzie Poznańskim“. 2) Żądanych numerów już nie posiadamy.

Dr. K. Prenumeraty zniżyć nie możemy. Pismo nasze jest znacznie tańsze od polityczno-literackich tygodników warszawskich, a jak Szan. Pan sam przyznaje, rywalizować może śmiało z każdym tygodnikiem polskim.

Z. Z. Znowu odkrywamy ślady talentu, ale wiersz nie dojrzały jeszcze do druku.

A. Z. Lwów. Mimo sympatycznej tendencyi, nadesłanych utworów zamieścić nie możemy. Za wiele patosu, za mało poezyi.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

„Pewne Kółko na Kujawach“... 20 Mr. Sumę tę wraz z 200 Markami ofiarowanemi przez p. Niesiołowskiego z Szarleja złożono w Spółce pożyczkowej w Górze. Reszta t. j 499,75 Mr. złożona jest w Banku Spółek zarobkowych w Poznaniu. Fundusz zebrany dotychczas wynosi ogółem 719,75 Mr.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Sprostowanie

W artykule „Na Wyłomie“ zamieszczonym w przeszłym numerze, czytać należy zamiast „patrocie„ „patronacie.“

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Ludwik Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 13. Poznań, Niedziela 31go Marca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

WIDMA.

W pamiętniku Koła polskiego w parlamencie niemieckim.

II.

Rozpatrując igły i sidła „ustawy przewrotowej“, trudno się oprzeć wrażeniu, że odegra ona rolę owych drutów kolczatych, któremi nieraz otoczone są klomby i ogrody. Rutynowany amator cudzej własności lub szkodnik przebiegły łatwiej ominie grożące niebezpieczeństwo, niż senny marzyciel, snujący się w głębokiej zadumie po ścieżkach i gościńcach, — niż swawolny młodzik, żywe i zapalne chłopie, ścigające na oślep barwne motyle. Już paragraf 130, scharakteryzowany wyczerpująco w ubiegłym tygodniu, zdradza ten charakter kolczatego parkanu, a świeże dzieje tarnopolskiego procesu świadczą wymownie, komu te igły w ciało by się wpiły. Monarchja, własność, małżeństwo, religia — ileż żywiołów polemicznych mieści w sobie każdy z tych wyrazów, ileż eksplodującego materyału spoczywa w dyskusyach na takiej kanwie wysnutych. Któż z ludzi myślących nie kruszył kopii w tych odwiecznych bojach, któż nie pytał: Strauss, czy Tomasz z Akwinu? Henryk, czy Pankracy? Helmer, czy Nora? Król, czy prezydent? — i któż pytamy, gdy dusza młoda rwała się ku słońcu, gdy w żyłach krew kipiała gorąca, gdy wygodna i ostrożna filisterya nie wyziębiła jeszcze płomienniejszych duchów, któż z nas wonczas nie miewał polemicznych uniesień i zapałów, któż nie wysyłał ostrych pocisków, na które dzisiaj czyha prokurator z § 130 w ręku? Mówi rząd niemiecki w motywach projektu, że ustawa będzie jedynie hamulcem dla *agitacyi* przewrotowej, dla rewolwerowych gazetek socyalistycznych, — ale z po za tej przejrzystej kurtyny wygląda inne oblicze. Swoboda myśli otrzymać ma pęta i kagańce, — wolne słowo paść ma pod obuchem policyi bez względu na to, czy płynie z ust zawodowego agitatora — rewolucyonisty, czy z ust zwykłego ideologa, broniącego własnych przekonań. Na ławie oskarżonych ujrzymy obok „palaczy socyalistycznych“, o których rząd tak straszne opowiada dziwy, tłumy „winowajców“ *przypadkowych*, młodzież rzucającą w polemicznej dyspucie zuchwalsze wyrazy, liberalniejszych dziennikarzy, kreślących słowo niebaczne w gorączkowym galopie redakcyjnym i owych polityków z ludu prostego, którzy myśli swoich w misterne zwroty nie układają.

I nie dość na tem. Spuścizna wielkich myślicieli ubiegłych czasów przestaje być otwartą skarbnicą dla potomków zagrożonych ustawą przewrotową. Być może, że prokuratorya nie rozporządzi na wzór średniowiecznych inkwizytorów publicznego *całopalenia* utworów *Spinozy*, lub *Erazma z Rotterdamu*, ale nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w dziełach tych myślicieli znajdują się drastyczniejsze ustępy, dotyczące monarchii, których *cytowanie* poczytanoby za naruszenie kauczukowej ustawy.*) *Publiczne* powtarzanie zdań *Kanta* i *Wilhelma Humboldta* o małżeństwie lub poglądów *Woltera* i *Fryderyka Wielkiego* na religią stanie się występkiem, wiodącym na ławę oskarżonych, bo czyż opinja królewieckiego filozofa o instytucyi małżeństwa, opinja ochrzcona przez *Hegla* przymiotnikiem „*roh*“, nie uchodziłaby w oczach prokuratora za „obelżywe orzeczenie“, którdwuletniem więzieniem karze ustawa. Czyż artykuły cytowane z gazet socyalistycznych przez ministra Köllera nie są marnym fajerwerkiem wobec błyskawic i gromów ciskanych na religią w pamiętnikach Fryderyka Wielkiego?

Posłuchajmy, co mówi ten „największy z królów pruskich“, przyjaciel Woltera, „mędrzec i poeta“. (Jeszcze ustawa nie uchwalona, jeszcze zatem wolno cytować):

„Fontenelle, Voltaire, Hobbes, Colins, Shaftesbury, Bolingbroke — wszyscy ci wielcy ludzie, wymierzyli religii cios śmiertelny. Ludzie zaczęli bliżej przypatrywać się temu, co dotąd *głupio* (auf stupide weise) uwielbiali; rozum powalił *zabobon;* odwrócono się z wstrętem *od bajek*, w które dotąd wierzono. Deizm zyskał wielu zwolenników. Podobnie, jak Epikureizm stał się zgubnym dla bałwochwalstwa pogan, tak deizm naszych czasów zwyciężył *wizye żydowskie*, uważane przez ojców naszych za prawdy.“

Tak mowi Fryderyk Wielki, a doczekamy się może chwili, w której cytowanie słów „największego z monarchów pruskich“ zaprowadzi do murów więziennych zuchwałego śmiałka.

Prokurator *contra* Fryderyk Wielki, a może nawet prokurator *contra* Mickiewicz — oto owoce reakcyjnych zachcianek.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad § 130 rządowego projektu ze względu na sensacyę, którą właśnie ten ustęp nowej ustawy wywołał w szerokich kołach społeczeństwa i z powodu igiełek wprowadzonych przez posła Rintelena do — „kolczatego parkanu“. Poglądy wypowiedziane przy charakterystyce tego typowego przykładu dążeń rządowych, zastósować można nieomal do wszystkich paragrafów nowej ustawy, bo w wszystkich przebija równa tendencya: *Spętać swobodę obywatelską, wolność słowa, prasy i literatury, zaprowadzić nieomal stan oblężenia w całym kraju i zdobyć sobie pałkę policyjną dla zmiażdżenia niewygodnej opozycyi.*

Dążenia te ilustruje niemniej jaskrawo § 111-a projektowanej ustawy. Na mocy paragrafu tego podlega karze więziennej (*maximum: 3 lata*) ten, kto pewne występki *pochwala lub uniewinnia*. Do występków tych należy: opór przeciw urzędnikom lub gwałt im zadany, rokosz (Aufruhr und Landfriedensbruch) kradzież, zburzenie budunków, zamach na zakłady telegraficzne itp. Dla informacyi dodajemy, że dotychczas podlegało karze (*maximum*: 1 *rok więzienia*) jedynie *wezwanie* (Afforderung) do karygodnych występków.

Zanim rozwiniemy konsekwencye tej niebezpiecznej nowacyi, przytoczymy pewien charakterystyczny ustęp z motywów załączonych do rządowego projektu. Mówią nam wnioskodawcy, że paragraf 111-a wprowadzonym został do ustawy z tego mianowicie powodu, że

*) Zwraamy również uwagę na Mommsena, historyą rzymcską (tom III str. 421), w której następujące znajduje się zdanie:

„Unter allen kläglichen Rollen giebt es keine klägliche als die mehr zu gelten als zu sein, und es ist das Verhängnis der Monarchie, da doch kaum alle tausend Jahre ein Mann aufsteht, der König nicht blos heisst, sondern ist, das diese Kläglichkeit unvermeidlich an ihr haftet“.

Słowa Mommsena są wyraźną obelgą dla monarchii i wielki historyk pada ofiarą nowej ustawy.

„częstokroć ludzie wprawdzie nie zaprzeczają, że ten i ów czyn sprzeciwia się prawu, lecz z stanowiska rzekomo sprawiedliwszego światopoglądu uniewinić lub upiększyć go się starają“.

Te słowa zdzierają wszelkie tkaniny, któremi w dalszym ciągu „motywów“ rząd stara się osłonić intencye swoje, wskazując na podburzające apoteozy *anarchistycznych* „męczenników“, w zagranicznych pismach. Litera prawa urość ma do potęgi najwyższego dogmatu, a ktokolwiek marzyć się odważy o moralności innej, ktokolwiek zapatrzony w tajemne głębie ludzkich instynktów, porywów i namiętności wzniesie się ponad oportunistyczne postulaty życia zbiorowego i szepnie „Niewinni“, gdy stróże praktycznej sprawiedliwości wypowiedzą słowo potępienia — temu piętno występku nowa ustawa na czole wyciska. Myśli nasze i słowa mają otrzymać mundur urzędowy, a ktoby na czyny ludzkie rzucił okiem innem, niż okiem trybunałów niemieckich, winien będzie zbrodni. Jest to ukrócenie prawa dyskusyi w dziedzinie psychologii i etyki ludzkiej, jest to bezprzykładny hamulec dla owej filozoficznej tolerancyi, która nieraz tam, gdzie prawo potępia, widzi tylko „konieczność woli“, widzi potęgę okoliczności wyrzucającą ludzi z bitych gościńców pisanej ustawy, widzi czyny wielkich serc i duchów, którym może przyszłość błogosławić będzie. Ileż to faktów zapisała kronika porozbiorowa narodu polskiego, które litera prawa państwowego potępi, a które są płomieniem, co świeci i grzeje, — świętością spętanej ojczyzny?!

Ileż to ojców i braci naszych ginęło w więzieniach i na szubienicach za naruszenie prawnej ustawy, a mimo to czci ich Polska, czci ich wróg nawet jako męczenników i bohaterów. Dziś jednak zbliża się rząd niemiecki z kodeksem prawa nowego i mówi : „*Uniewinniać* tych ludzi, ktorzy rokosz podnieśli i opór władzy stawili, jest zbrodnią.“ I marną pociechą jest dla nas komentarz rządowy“, że naukowym badaniom a mianowicie rzeczowemu traktowaniu historycznych wydarzeń nic na przeszkodzie nie stanie“, bo jest to wprawdzie „glejt bezpieczeństwa“ dla objektywnego historyka, ale cóż się stanie z poetą, który w płomiennych słowach wielbić będzie rewolucyonistę, męczennika idei, obrońcę pogwałconych praw narodowych lub społecznych? Cóż się stanie z Schillerem, — potężnym piewcą wolności? A „Zbójcy“, a „Wilhelm Tell“? Cóż się stanie z Mickiewiczem i Słowackim? A Dziady, a Kordyan? Nie twierdzimy stanowczo, że dzieła te zwieje jak wicher nowa ustawa z pułek księkarskich, bo rząd lękać się będzie naruszyć narodowych świętości i stać się pośmiewiskiem Europy, ale nie ma najmniejszej wątpliwości, że litera i duch paragrafu stempel karygodności na utworach cytowanych wyciska i zrozumieć nie trudno, w jakim kierunku i przeciw jakim utworom zwróci broń swoją oskarżyciel państwowy. „Zbójców“ i „Dziadów“ tknąć się może nie odważy prokurator niemiecki, ale niewątpliwie ścigać będzie na mocy nowej ustawy podobne utwory, jeżeli staną się niewygodne dla *panującego* kierunku.

I jak przy paragrafie 130 tak i przy paragrafie 111a pamiętać o tem należy, że nie sama literatura i prasa, lecz szerokie koła społeczeństwa, mianowicie w niższych jego warstwach uczują ostrze niebezpiecznej ustawy. Są pewne „występki“, które cieszą się stałe sympatyami publiczności, że wspomnimy tylko ową głośną sprawę w „Fuchsmühl“, gdzie „*sąd ludu*“ uniewinnił gromadę chłopów, potępionych literą prawa za opór przeciw władzy i zbrodnią „*Landfriedensbruch*“. Przypominamy dalej czasy walki kulturnej, gdzie zdarzały się często kolizye między ludem a żandarmami, ścigającymi kapłanów. Prawo zamykało w murach więziennych tych biednych ludzi, którzy po swojemu.... pięścią bronili duchowieństwa przed władzą, — lecz któż z katolików goręt szych, któż z Polaków ich nie uniewinniał? Ileż to razy wieśniacy w karczmie, rzemieślnicy w piwiarniach z słowem miłości na ustach mówili głośno o „polskich męczennikach“? Wonczas to zbrodnią nie było, — dziś staje się występkiem, któremu grozi trzyletnie więzienie.

Wyjaśniliśmy na dwóch typowych przykładach niebezpieczeństwo projektowanej ustawy, a niebezpieczeństwo to w mniejszym lub większym stopniu wieje z każdego paragrafu nowego prawa. Nie mamy zamiaru rozwodzić się dłużej nad poszczególnemi ogniwami tych kajdan, które rząd pragnie społeczeństwu nałożyć, bo musielibyśmy w znacznej części powtórzyć zarzuty, uzasadnione powyżej; to też wskazujemy tylko ogólnikowo na §§ 129, a znany pod nazwą „Complotparagraph“, § 131 i obostrzenie ustawy prasowej, a mianowicie na § 112, na mocy którego karze więziennej (*maximum*: 3 lata) podlega ten, kto „stara się (*der es unternimmt*) żołnierza aktywnego wojska lub aktywnej marynarki skłonić do udziału w dążeniach, zmierzających do przewrotu istniejącego porządku politycznego“. W elastycznej formie tego paragrafu tkwi poważne niebezpieczeństwo. Najlżejsza *próba* spowodowania żołnierza do udziału w przewrotowych dążeniach podlegać ma karze więziennej, a czegóż za „próbę“ nie uzna polityczny subjektywizm, polityczna jednostronność i fanatyzm sędziów. Proste wygłoszenie radykalnych teoryi w obecności żołnierza stać się może materyałem, z którego pokuratorya akt oskarzenia wysnuje. Giętkie określenie: „*der es unternimmt*“, — jest tendencyjnie zastosowane, aby ten paragraf na wskroś subjektywnie aplikować można. Gdy żołnierz na urlopie zapuka do drzwi rodziny, przywykłej do swobodnego głoszenia śmiałych opinii, stanie może przed kratkami ojciec jako uwodziciel syna-żołnierza, brat jako uwodziciel brata-żołnierza. A w chwili tak zwanych „kontrol“ (Kontrolversammlungen) gdzie każdy udział biorący obywatel stoi przez 24 godzin pod prawem wojennem jako *członek aktywnego wojska*, lubo munduru nie nosi — w takich okolicznościach prokurator obfite żniwo zwiezie na ławę oskarżonych. Przy okazyach owych kontrol wojskowych kwitnie życie towarzyskie po gościńcach i kawiarniach, a gdy alkohol uderzy do głowy, wtedy dyskusya polityczna staje się nieraz szeroką i śmiałą. Tu właśnie ujawnia się jaskrawo niebezpieczeństwo nowej ustawy, bo za kilka zuchwalszych poglądów wypowiedzianych w obecności człowieka, który prawnie przez 24 godzin należy do aktywnego wojska, choć nosi ubiór cywilny, paść można ofiarą paragrafu 112.

I ten trzeci przykład naszkicowany w ogólnych zarysach, świadczy wyraźnie, w jak ciasne obręcze rząd niemiecki społeczeństwo całe ująć zamierza. Epoka policyjnego teroryzmu i szykan niemiłosiernych stanęła u progu i puka natarczywie do drzwi naszych, a jeżeli „ustawę przewrotową“ wpuścimy do kraju, usłyszymy u bram coraz głośniejsze pukania nowych zakusów reakcyjnych. To dopiero awangarda wielkiej armii wsteczników, — za nią idą działa cięższego kalibru i gwardye obskurantyzmu. Z tego stanowiska jesteśmy przeciwni wszelkiej *kompromisowej* lub *połowicznej* kontrakcyi i żądamy od posłów naszych, aby przeciw projektom rządowym stanęli w opozycyi *bezwzględnej, stanowczej i wszechstronnej. Allegro impetuoso*, — oto tempo, w którym bój na całej linii odbywać się winien, bo ta nowa ustawa jest zwiastunem mroku gęstego, który nam jako ludziom wykarmionym duchem konstytucyi i jako Polakom zgotuje jutro posępne. *Principus obsta!*

JAROGNIEW.

Chora miłość.

Wszystko byłoby dobrze, gdybym tylko mógł pracować. Licho jakieś zagryzzło mi się w serce, w pamięć, że nie mogę o niczem innem myśleć, ani mówić, — a co najgorsze, co mnie do wściekłości, do szału przyprowadza, ani pędzla weź do ręki!

Gdy wszelką siłą skupię pamięć i myśl koło jednego przedmiotu, na jakie pół godziny niby dobrze, — ale niech spojrzę tylko po za siebie i zobaczę naprzykład promień słońca, wkradający się przez okno do pokoju, zaraz przypomina mi się to samo słońce, które wpadało „wtedy“ przez okno, — przypomina mi się włosów jej kolor, widzę jej oczy przed sobą, — i zwolna znowu jestem przy niej całem sercem, całą duszą!

Bodaj to wszyscy djabli wzięli!

Ale cóż tu pomoże szamotanie się? słodkie, lube więzy wspomnienia omotają mnie wkrótce tak, — że jak doprawdy spętany rzucam się na otomankę, i pomimo całej swojej szorstkiej, brutalnej, nieociosanej natury myślę, marzę, a lustro naprzeciwko odbija łeb mój rozczochrany i brodę czarną, potarganą, że wyglądam w niem tak komicznie, jakby mnie jutro do czubków oddać miano.

To nic — otaczam się kłębami niebieskiego dymu z papierosa, — i nie pragnę nic widzieć; napróżno obrazy na sztalugach wkoło patrzą na mnie miłosiernem okiem. Nie chcę widzieć was, nie chcę wiedzieć o niczem. Bodaj to wszyscy djabli wzięli!

O Ido, moja Ido! Splatam ręce nad głową i przeciągam się rozkosznie, a gdy szeptem imię jej wymówię, widzę ją, jaką była tam, w sali przed moim obrazem, jaką gdy śpiewała, gdy tuliła się do mnie, do tych samych moich piersi, które teraz rozpiera popęd niezaspokojony, — o Ido, moja Ido!

No i cóż? Wymówiłem jej imię i zmieniło się choć troszkę otoczenie moje? Tak samo te obrazy stoją przedemną, tak samo jestem sam, jak przedtem. A gdybym dawniej, choć z ośm .. tak właśnie ośm tygodni wstecz, wyszeptał był jej imię... Boże, jednak ja byłem bardzo, bardzo szczęśliwym!

Czyż ja się domyślałem, jakie to było szczęście, dopóki byłem w niem? Wiedziałem tylko, że dzieje się ze mną coś potężnego — czułem, jak czar jakiś pochwycił mi duszę i niósł ją gdzieś, — że mi aż straszno było naprzemian i rozkosznie. A panował ten czar nademną od pierwszego spojrzenia, zamienionego z nią. Złota moja, kochana moja, najdroższa, jak ja każdy szczegół naszego poznania dokładnie pamiętam — każde uczucie, przebyte w godzinach spędzonych z nią!

Gdy się tak otoczę dymem z papierosa i wszystko wokoło widzę tylko, jak przez mgłę, wtedy pamięć moja działa gorączkowo i doprowadza mnie nieraz do takiego złudzenia, że mniemam się jeszcze w przeszłości, — że wyczekuję, rychło ona kotarę we drzwiach uniesie i stanie przedemną żywa, złota. Biegnę nieraz, odchylam portyery i zaglądam do drugiego pokoju, tak mi się zdaje, że jest jeszcze zemną. Ale jej nie ma tam...

Zasłaniam oczy ręką, bo mnie razi widok wszystkiego; te obrazy — to wszystko wkoło mnie przeszkadza mi w myśleniu o niej i sprawia mi ból.

Pamiętam, właśnie trzy miesiące temu — było to piętnastego maja — oddałem swoje „Myśl“ i „portret własny“ na wystawę.

„Myśl“ — dziś jużbym tego nie umiał malować; — wtedy byłem wpatrzony w jakiś potężny, szeroki horyzont duszy, świat byłbym mógł ująć w ramiona, nie aby go przycisnąć do piersi, tylko by uczuć swoją moc i w tryumfie wyrwać go z posad. Dziś jużbym nie umiał tak myśleć, — tak roztopić się całą istotą w myśli jednej, że się zapomni o sobie, — nie, tego nie umiałbym już dzisiaj.

Prawie mi tęskno było, gdy skończyłem pracę nad „Myślą“, a gdy oddałem obraz, ileż

POLITYKA.

Dokąd idziemy?

III.

Że „Dziennik Poznański“ był niegdyś pismem „umiarkowanie liberalnem“ zaprzeczyć się nie da, ale z biegiem czasu — a zwrot nastąpił, jak w ogóle cały przełom w naszem społeczeństwie, razem z epoką walki kulturnej, — umiarkowanie „Dziennika“ rosło, a liberalizm niepomiarkowanie się obniżał. I pewnego pięknego poranku obudził się stary „Dziennik Poznański“ w nowej szacie — jako ultramontanin czystej wody.

Jest to w ogóle organ, mający dziwne poczucie zmian w kierunku polityczno-społecznych wiatrów i iście Proteuszową zdolność przedzierzgania się w szaty odpowiednie do wiejących z góry prądów. — Przez cały czas walki kulturnej i następującą po niej epokę hegemonji kleru był Dziennik wzorem prawego ultramontanina. Od „Kuryera Poznańskiego“ różnił się przeważnie nagłówkiem — a różnicy zasad brakło do tego stopnia, że poruszano poważnie myśl zlania tych dwóch pism w jedno. I oto po długich latach, kiedy „partya dworska“, kwiat polityczny klerykalnych rządów, okryła się śmiesznością, kiedy ruch ludowy coraz szersze zaczął ogarniać koła i coraz niedwuznaczniej stawać frontem przeciw tej polityce, kiedy szerokie koła inteligencyi stanęły po stronie ludu — przypomniał sobie Dziennik Poznański dawno minione czasy — i stał się raz jeszcze pismem umiarkowanie-liberalnem.

Z naszej strony życzymy Dziennikowi szczerze, aby ta nowa przemiana, nie obojętna dla pisma w tak poważnym wieku, odbyła się bez szwanku. Ponieważ jednak zachodzi obawa, że Dziennik Poznański w owej dość długiej epoce, w której hołdował innym bogom, miał czas odzwyczaić się od warunków i obowiązków liberalnego organu, pozwolimy sobie zrobić jedną uwagę: Czołobitność oddana owej próbie fałszowania dziejów swoich i obcych, jaką hr. St. Tarnowski pod tytułem: „*Nasze dzieje w ostatnich stu latach*“ dla ludu polskiego przeznaczył, nie licuje z obowiązkami liberalnego organu. Takie wyrażenia jak: „Hr. Tarnowski *zstąpił* do nas“, może Dziennik śmiało Kuryerowi pozostawić. Niedostępnych wyżyn w stanowisku hr. Tarnowskiego — duchowem dopatrzeć się nie możemy; „umiarkowanie liberalny“ Dziennik Poznański i konserwatywno-stańczykowski hr. Tarnowski — stoją na jednym poziomie. Przypuszczamy, że było to tylko małe potknięcie, jakie każdemu pismu, stawiającemu na nieznanym gruncie pierwsze kroki przydarzyć się może, i że Dziennik Poznański z czasem odzyska swą minioną werwę liberalną. A wtedy będzie wszystko, jak dawniej, jedno tylko nie ulega wątpliwości: pismo, które dla interesu odkłada przekonania „do lepszych czasów“ może prosperować bardzo dobrze przy najróżniejszych prądach wiejących z góry — ale nie zdobędzie się nigdy na wytknięcie drogi społeczeństwu. A jednak dzisiaj, kiedy najróżniejsze kierunki ścierają się z sobą i o jakiejś na wspólnem porozumieniu opartej akcyi nikt słuchać nie chce, należałoby się spodziewać po najpoważniejszym z naszych poważnych organów postawienia jakiegoś programu wytycznego, do którego, choćby tylko przeważna większość społeczeństwa rękę przyłożyćby mogła. Ale Dziennik Poznański, płynący szerokiem, wygodnem i płaskiem politycznem korytem, zdobywa się co najwięcej na ojcowskie napomnienia, wzywające do — „solidarności.“ Jest to w ogóle ostatni atut naszych „poważnych“ organów, zakrywający znakomicie wewnętrzną pustkę. Przecież nie „solidarność“ jest największą zaletą i pierwszym obowiązkiem społeczeństwa — bo i cóż zyskamy na tem, jeżeli potokami wymowy i gromami publicystycznemi zdusimy żywioły opozycyi — a potem „solidarne“ społeczeństwo sprowadzimy na manowce?

Nikt nie przeczy, że w naszych warunkach solidarne wystąpienie społeczeństwa może nas w wielu razach od klęski zachować, a niezgoda o straty przyprawić. Ale wzywający do solidarności powinni wiedzieć, kiedy to czynić należy. Są osobistości u nas forytowane konsekwentnie, są sprawy wysuwane przez pewne koterye, działające jak ferment rozkładowy na społeczeństwo. I o tem powinni wiedzieć nasi politycy. Ale im zdaje się, że żyją ciągle jeszcze w owej epoce, kiedy ziemiaństwo, idące ręka w rękę z duchowieństwem, stanowiło jedyną politycznie dojrzałą i na mocy tego rządzącą warstwę społeczną. Wówczas zrywanie „solidarności“ byłoby, jeżeli nie zdradą, to w każdym razie porywaniem się z motyką na słońce. Ale dzisiaj rzeczy się zmieniły, a nasi politycy powinni cieszyć się z tego, zamiast rozrywać szaty swoje.

I Dziennik Poznański, odkąd wstąpił w ultramontańskie tory Kuryera, aby dąć z nim razem w rozgłośną trąbę solidarności, zapomniał, że jak w przyrodzie walka o byt jest podstawą życia, tak *walka stronnictw* jest koniecznym objawem żywotności społeczeństwa; że dobro publiczne jest właśnie owocem ścierania się stronnictw walczących o władzę; że społeczeństwo nie zdolne do wytworzenia stronnictw, skazane jest na zagładę. Zapomniał o tem wszystkiem Dziennik Poznański i stoi na straży swej godności. Godność zaś „poważnego“ organu polega na tem, aby nie narażać się nikomu i we wszystkich, choćby najbardziej palących kwestyach, zajmować stanowisko niezdecydowane i połowiczne. Kiedy zagadnienia czasu, bijąc splątanemi węzły do bram dziennikowych, domagają się rozwiązania — Dziennik płącze węzeł jeszcze dokładniej i końce wsadza do wody!

Szkoda, że Dziennik Poznański narodził się na świat o kilka tysięcy lat za późno: na trójnogu olympijskim dawałby on odpowiedzi zdolne zawstydzić starożytną Pytję!

Kto przyzwyczaił się brać objawy społeczne nie jako oderwane fakta, ale jako wyniki głębiej sięgających przyczyn — ten przyzna, że to obniżenie się wartości naszej poważnej (t. j. decydującej o naszych sprawach) prasy jest rysem wysoko znamiennym i świadczącym wymownie, że owa dekadencya, o której wyżej wspomniałem, nie jest illuzyą. Prasa bowiem, będąca z natury swojej odbiciem wszelkich prądów nurtujących społeczeństwo, stanowi zarazem bardzo pouczającą miarę jego sił. — Ale znamiona dekadencyi pojawiają się i na innych polach. Byłoby zbyt skrajnym pesymizmem twierdzić, że cofamy się na wszystkich punktach. I my zapisujemy z radością, jako cenny dorobek narodowy, podnoszenie się oświaty i wzrastającą świadomość obywatelską wśród szerokich mas ludu; nie przeczymy, że jeżeli posiadłość ziemska, podstawa naszej narodowej egzystencyi, kurczy się boleśnie, jest tendencya w społeczeństwie zapełnić dorobkiem ekonomicznym na innych polach powstające szczerby; uznajemy działalność naszych towarzystw, o ile pozytywne wyniki ogółowi przynoszą i dostarczają społeczeństwu rokrocznie nowych zastępów intelligencyi i ludzi fachowych. Ale kto, opierając się na tych danych, twierdzi, że my istotnie idziemy naprzód, oszukuje samego siebie. Większość tych prac społecznych i instytucyi, to zabytek lepszej przeszłości, działający jeszcze wpośród nas siłą bezwładności. Chcąc o teraźniejszym stanie społeczeństwa i o kierunku jego sądzić, trzeba brać pod uwagę *to, co obecnie pośród nas powstaje* — a to nie daje powodów do optymistycznych złudzeń. Przywiedźmy sobie na pamięć wszystkie owe projekta, rozpoczęte dzieła i szerokie zamiary, które drzemią w połowie drogi, dla braku funduszów i poparcia — i powiedzmy sobie, że mamy jeszcze energią na stawianie nowych pomysłów, ale braknie nam

---

razy biegałem do sali, aby rzucić na niego okiem.

Wtedy raz, może o godzinie czwartej po obiedzie, wchodzę do sali, wkoło na sztalugach i podle ścian obrazy, zresztą pusto w niej — tylko na kanapie okrągłej, ponsowej, w środku pokoju, jedyna jedna kobieta, odwrócona odemnie, a wpatrzona w moją „Myśl“.

Siedziała z głową opartą na ręku, patrzała, jakby śniąc. Przystanąłem — nie chciałem przerywać jej — może w tej chwili właśnie wżyła się w ideę mojego obrazu, może ją ona tak samo unosi, jak moję duszę. Nie wiem, chciałbym jednak, aby każdy zrozumiał mnie, jeżli nie objął pojęciem, to przynajmniej przeczuł wielkość tej „Myśli“.

Siadłem za nią na kozetce niskiej, Suknia ciemno-czerwona, mieniąca się w każdem zagięciu, jakby tęczowemi kolorami, opinała wiotką jej i wysoką postać. Wstążka w pasie przytrzymywała prawie od niechcenia fałdy dość luźnego stanika. Ręka jej zasłaniała twarz, widziałem tylko włosy na boku głowy. Wszystkie ujęte greckim węzłem, takie sprawiały wrażenie, jakby każdy włos co kawałek łamał się w zagięciu, a na zagięciu tem błyszczała iskra rzucona czarodziejską jakąś ręką.

Ileż razy kusiłem się, aby ten kolor włosów jej podchwycić i odmalować, — tam przedemną stoi jeszcze płotno, które miało portret jej przedstawiać. Ale czyż ja mogę... Ten połysk subtelny jest czemś tak niepochwytnem, jak ona cała.

Pamiętam, że siedziała jeszcze bardzo długo bez ruchu, jakby zapomniawszy o świecie, — nie słyszała pewnie ani mojego wejścia przedtem. W końcu wstała, wciąż jeszcze odwrócona odemnie, i ja wstałem z kozetki; nagle gdy zwróciła sie ku mnie, drgnęła i jakiś błysk przeleciał po jej twarzy, coś podobnego do zdziwienia; poznała mnie chyba z portretu. Tymczasem — pamiętam — gdy obróciła się tak, że promienie słońca padły na jej twarz, aż mi dech zaparło — nic nie widziałem, ani ust, ani czoła — tylko oczy. — te oczy stały przedemną cudne, nieodgadnione, jak zwierciadlana tajemnica.

Gdybym kiedy oczy te mógł zrozumieć; niby czarne, a tyle blasków bije z nich, że powstaje przed niemi, jakby siatka promieni; chyba oczu samych nie zobaczę nigdy, ani w głąb ich nie zajrzę, po za tem światłem promieniejącem z nich. Może chochlik jaki przed niemi lata i przyświeca pochodnią jasną — może... alboż ja wiem.

Jakże tu malarzem być i nie oszaleć, patrząc w takie oczy! Przecież tam w nich wyraźnie się coś pali, a przytem spojrzeniem każdem proszą się o farby, błagają, aby je malować, — i urągają zarazem sztuce wszelkiej, bo gdzież ten djabeł, który z tych kilku farb na palecie skleci blaski te wszystkie cudowne! Zapomniałem o świecie w pierwszej chwili, zgłupiałem poprostu, i tak mi było, jakbym zobaczył skarb wielki i bał się, że mi go wezmą, i drżał, czy mnie oko nie zawiedzie, a pamięć nie zapomni tego, co oko widziało.

Gdy sobie tę scenę przypomnę, aż mnie wstyd, musiałem strasznie głupio wyglądać w tym artytystycznym zachwycie.

Ocknąwszy się z chwilowego osłupienia, uznałem, że położenie nasze arcygłupie. Staliśmy oboje, ja wpatrzony w nią, ona z taką miną, jakby mnie znała od stu lat, a tu wkoło nas nikogo, żadnej żywej duszy, — wszystko jak najfatalniej. Trzeba było coś zrobić, — nie podobno tak odchodzić bez wszystkiego. Więc zbliżyłem się do niej i wskazując na obraz, rzekłem z bijącem sercem i jak zwykle, kiedy się chcę wysadzić, z niezgrabnym, wiem na pewno, ukłonem:

— Cóż pani w nim znalazła? Pani długo wpatrywała się w niego.

Odparła, przecząc żywo ruchem głowy:

— Wpatrywałam się w duszę twórcy. — (Gdy mówiła, ożywiły się źrenice jej żywym blaskiem, że aż oczy przymrużyć musiałem.

— Znalazłam w nim własnych uczuć odłam niewyraźnych dotąd i nierozwikłanych, — wielką potężną myśl, przed którą straszno i rozkosznie zarazem.

Jaka ona piękna — jaka piękna!

— Dziękuję, że pani mnie odgadła; pani

jej, aby rozpoczęte dzieła w życie wprowadzić. Jest to trwonienie sił na wielką skalę. W ogóle chwytamy dzisiaj tem łatwiej jakąś ideę, im jest pospolitszą — zdrowe i postępowe idee, z których głębsza myśl przeziera, przebrzmiewają bez echa. — Wiec katolicki — oto hasło zdolne poruszyć nasze społeczeństwo! Czy przypominacie sobie setki niedorzeczności, wypowiedzianych tam z ogromną emfazą? Każdy tam był — każdy przynajmniej wstąpił na chwilę, aby go oko „najwyższych“ dostrzegło. Czy pamiętacie występ naszych matadorów politycznych na deskach teatralnych przed Heleną Modrzejewską?

Stała — uginając się pod ciężarem wieńców poznańskich, dumna pracą około sławy imienia polskiego, której służy od długich szeregów lat — zawsze jeszcze piękna.... a przed nią stał „królik wielkopolski“ i mówił jej o — obowiązkach! — Stała — jak pionierka ducha postępu, którego płody w ciało przyobleka i bogatemi dary ze swych uczuć skarbnicy zbogaca i porywającą siłą na wyżyny wynosi — z pobłażliwym uśmiechem na ustach, kiedy inny mąż „ładu i porządku“ losy swego społeczeństwa i cały ciężar błędów obecnej wewnętrznej polityki u stóp jej składał, błagając w namaszczonej przemowie, by i ona (nie śmiejcie się panowie) by i ona część tego niepotrzebnego balastu na swoje barki wzięła. Ach! cóż wam uczyniła Helena Modrzejewska szanowni twórcy, wielbiciele i podpory dzisiejszego kierunku politycznego?! I jakie małe i marne być musi wszystko, czem rozporządzacie, jeżeli z lekkiem sercem, wszystko, nawet waszą politykę składacie u stóp — artystki dramatycznej!

St.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

W *„Gazecie Toruńskiej“* (Nr. 68) czytamy:

„Skłoniło nas do tego wystąpienia ciekawe wyznanie sławetnej „Neue Westpr. Ztg. — Pr. Stargarder Ztg. u. Anzeiger.“ Pisze ona w numerze 64. z dn. 20 bm. dosłownie, co następuje:

„Już samo istnienie towarzystwa, którego głównym, chociaż nie wyraźnym celem z pewnością jest, służenie za łącznik między polskimi katolikami i wychowywać świadomą polskość, zdolne (geeignet) rozdmuchiwać zarzewie niezgody. Dla czego Polacy nie przyłączą się do niemieckich towarzystw, dla czego tworzą własne, odrębne towarzystwa, w których (O zgrozo! Red.) chcą być między sobą?“

Panie redaktorze! Każ pan sobie dać kilkadziesiąt batów za karę, że wyśpiewałeś to, co wszyscy polakożercy myślą, ale zbyt są oględni, żeby to jawnie wyznać. Wy nie tęsknicie za Polakami. Was razi samo istnienie choćby najniewinniejszych, najspokojniejszych towarzystw katolicko-polskich, was drażni i gniewa, że Polacy i katolicy wogóle żyją, ruszają się, pracują na chleb i wcale nie mają ochoty wymierać. Wybyście nas wytruć gotowi, jak szczury, a ponieważ wam wstyd przed światem, więc staracie się ustawodawstwo to tak nakręcić, żeby nas stopniowo zamieniało na żebraków, a z czasem zupełnie wygłodziło.“

„Orędownik“ tak pisze w artykule p. t. „Po szlachcie chłop polski“ (Nr. 69):

„Co jest polityka narodowa? Jeżeli to jest utrzymanie i zabezpieczenie bytu narodowego w granicach państwa pruskiego, to punkt ciężkości tej polityki, winien się znajdować w kraju, w narodzie, w ludzie, a nie w Berlinie, nie w Kołach poselskich. To jeszcze nie ogranicza w niczem kompetencyi Kół poselskich w Berlinie, ale kładzie rygiel temu, żeby posłowie z Berlina samowładnie i samowolnie, nieraz z zupełnem lekceważeniem faktycznych stosunków ludności, nie narzucali nam polityki jałowej lub wprost przewrotnej.

Możnaby o tem obszernie pisać. Powołamy się tylko na dwa fakta, jak fatalnie nasze Koła polskie — którym zresztą zkądinąd nie odmawiamy wielkich zasług około narodu, oddziaływają na to, co się nazywać powinno polityką narodową.

W roku 1886 przy debatach nad ustawami antipolskiemi Koło wydało znane hasło: usque ad finem!

Prosimy rozważyć — czy można było większe polityczne głupstwo popełnić i więcej szlachtę z trybuny sejmowej skompromitować i więcej systemowi pruskiemu dodać ducha do atakowania żywiołu polskiego? A jednak opinia publiczna to głupstwo polityczne wieńczyła, dekorowała i wszystkie usta je powtarzały, dopóki nam srebrniki kolonizacyi ust nie zamknęły.

W pięć lat potem pan Józef Kościelski zarzuca z Berlina całe społeczeństwo różanemi obietnicami. Posłowie klną się, że przyjdą ulgi: wołają: Wielkanoc! Wielkanoc! — i wszystko szaleje, wyczekując za Wielkanocą.

To są dwie karty w dziejach naszych, których nikt nie zamaże i nie wydrze. To są dwa straszne błędy; pierwszy zawiódł szlachtę, drugi lud polski, a te dwa straszne błędy zawdzięczamy Kołom poselskim dla tego, że w nich spoczywa dotąd punkt ciężkości naszej polityki norodowej, a nie w narodzie. Dla tego, że nasza polityka narodowa robi się nie w kraju przez naród sam, ale w Berlinie przez posłów.“

W artykule p. t. „Naród bez mózgu“ tak się rozwodzi *„Orędownik“* (Nr. 68):

„Cośmy powiedzieli przed kilkoma tygodniami, że teraz nikt nie będzie się chciał przyznać do polityki partyi dworskiej a niezadługo najzagorzalsi jej zwolennicy zaczną ludziom dowodzić, że zawsze tę politykę potępiali, to się już dziś dzieje. Tak tu w Poznaniu, jak na prowincyi odzywają się z kół jeszcze wczorajszych zagorzalców polityki partyi dworskiej głosy pełne zdumienia i oburzenia: jak to można było się łudzić, aby Berlin coś dla Polaków uczynił, aby odwieczny system pruski miał zmienić!

Jestto może najbardziej zastraszający objaw, bo mimowoli ciśnie się myśl do głowy, czy Rosyanie i Niemcy nie mają racyi, gdy o nas mówią i piszą: że sami o sobie myśleć nie potrafimy, ale jesteśmy „narodem bez mózgu“!

Rzadko kiedy w naszych dziejach porozbiorowych tak szybko wysuwały się jedne stosunki po drugich; rzadko kiedy nasze stosunki publiczne tak się przejrzyście układały, żeby się nasze spełeczeństwo pod berłem pruskiem dało schwycić, że użyjemy wyrażenia, tak na gorącym uczynku swej własnej bezmyślności nieudolności politycznej, jak obecnie.“

. . . .

„Po zbankrutowaniu wszystkich teoryi politycznych odzywają się znowu głosy: „że tylko zgoda i solidarność“ nas zbawić może; niektórzy dodają „prawdziwa solidarność“. Jeżeliby ta „zgoda i solidarność“ miały służyć tylko do rehabilitowania partyi dworskiej, do podtrzymania tradycyjnej szlacheckiej polityki; jeżeli ma służyć na to, żebyśmy wiecznie byli „narodem bez mózgu“, „papugą innych narodów“, to sto razy lepiej dla społeczeństwa polskiego pod rządem pruskiem, że takiej solidarności nie będzie.

Stosunki polityczne gwałtem wypychają naprzód warstwy średnie i lud, żeby same o sobie i za siebie myślały. Niech też w tych kołach myślą wszyscy, jak sobie radzić, by nie wpaść w błędy i w sieci starej polityki szlacheckiej, a rzetelnie pojmować i rzetelnie wykonywać służbę narodową.“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Przeciwko wynarodowianiu ludności słowiańskiej przez kościół na rzecz Włochów występują nietylko pisma słowińskie, ale i duchowieństwo patryotyczne. Oto, co pisze ks. kanonik dr. Volarić w dzienniku *„Slovenec:“*

„Jest prawdą, że większość ludności dyecezyi w Parenzo jest słowiańską, wyłącznie słowiańską jak ludność wiejska. Mimo to w duchownem konwencie dyecezalnym znajduje się pomiędzy 57 alumnatami tylko 5 Słowian. Nie czujemy się powołanymi do krytykowania rządów biskupich, ale i mimowolnie budzi się w nas myśl, że tendencye ich są wrogie naszej narodowości. Jest rzeczą znaną, że wszyscy reprezentańci ludności włoskiej tak w sejmie, jak w gminach należą do partyi liberalnej, gdy posłowie słowiańscy zawsze w obronie religii występują. Duchowieństwo pracujące nad wynarodowieniem ludu słowiańskiego pracuje dla idei liberalizmu. W interesie kościoła należałoby dbać o utrzymanie ludu słowiańskiego przy narodowości swojej; jeżeli tego nie czynią duchowni włoscy, to postępowanie ich zasługuje na napiętnowanie, bo ich działalność wrogą jest intencyom kościoła:

Skutek protegowania przez rządy biskupie Włochów okazuje się i w tem zgubnym, że coraz większy brak pasterzy duchownych. Gdy miasta wybrzeżne włoskie posiadają ilość dostateczną duchownych, parafje wiejskie opustoszały i niejednokrotnie ksiądz opiekować się musi kilkoma parafiami równocześnie.

Smutnym objawem są też napaści czynne i zniewagi duchownych, których się dopuszcza ludność włoska na duchownych słowiańskich, a zachodzą fakta, że właściwymi sprawcami są

---

wie, co to za rozkosz, być pojętym przez kogoś.

— Prawdą, rozkosz — wielka rozkosz, upajać musi i porywać, tylko, że jej tak rzadko doznać można prawdziwie.

Podniosła przytem oczy i spojrzała w przestrzeń przed siebie wzrokiem tak rozpalonym i pełnym pragnień niewytłomaczonych, że we mnie zamiar dojrzał wyraźny: za wszystkie skarby tego świata muszę ją poznać. Widzieć te oczy jej czarowne przez życie całe, niczego więcej bom nie pragnął. Rzekłem więc:

— Jeźli pani tęskni za tą rozkoszą, — otwórz pani przedemną duszę, ja cię zrozumiem, tak jak ty mnie pojęłaś.

Patrzała na mnie bystro a przytem tak, jakby dla niej to szczęście wyspowiadania się przed kimś z tych myśli, których ludzie nie pojmą, było ideałem jedynym i marzeniem.

— Wierzę, pan by mnie zrozumiał — szepła.

— Więc czekam na spowiedź.

— Nie umiem się spowiadać ani słowem, ani pędzlem, jak pan, — odparła po raz pierwszy z uśmiechem.

— Tylko?

— Muzyką...

Więc artystka — wiedziałem odrazu; taki płomień może się tylko palić w oczach, w których przegląda się dusza, jak słońce bogata. I poszliśmy razem wtedy, mnie w piersi serce kołatało, jak pijane z radości, że będę patrzał w te oczy długo, długo — ona, jakby zamyślona, jakby zapatrzona we własną duszę, — jak natchniona.

Rozumiałem ten stan jej; ile razy sam go przechodziłem. Wtedy myśl tak krąży koło jednego przedmiotu, tak szuka barwy najlepszej, w któréjby dusza przebiła się cała, że świat znika z przed oczu i wszystko.

Szedłem więc obok niej, nie mówiąc słowa. Gdy sobie teraz przypomnę, gryzłbym się ze złości, tyle chwil spędzonych przy niej, straciłem napróżno, a teraz pół życia dałbym za taką jednę chwilę. Mówiłbym do niej, ciągle mówił — wiem, że długoby trwało, nim wypowiedziałbym wszystko.

Przeszliśmy jednę ulicę i drugą, weszła w końcu do kamienicy jednej, do hotelu, na pierwsze piętro i po chwili znalazłem się w saloniku jej. Jak ja znam ten dom teraz, te schody i sienie. O, te wspomnienia życie mi chyba zatrują, albo rozum pomieszają.

Gdybym jeszcze raz mógł być w tym saloniku jej, — firanki ciemne zasłaniają okna, portyery ciężkie spadają fantastycznie na podłogę, zasłaniając drzwi. Otomanka miękka pod jedną ścianą, a koło drugiej skrzydło olbrzymie otwarte. Tu u mnie w pracowni tyle makat, tyle sztalug, draperyi tyle najróżniejszych, a jednak u niej tak ciepło było, tak swojsko.

Pamiętam, gdy mnie przeprosiła i znikła w drugim pokoju za portyerą, aby zrzucić kapelusz i zarzutkę, — rozglądałem się wszędzie, jakby zdziwiony, — cóż tam urok ten sprawia, chyba cud.

Po chwili weszła znowu i wskazawszy mi miejsce na otomance, przystąpiła szybko, prawie gorączkowo do fortepianu, nie mówiąc ani słowa. W oczach jej paliło się jaśniej, niż przedtem, a koło ust igrał uśmiech prawie gorzko-bolesny, zdradzający wzruszenie wewnętrzne.

Siadła na taburecie i położyła palce na klawiszach, a widziałem, że ręce jej drżały, kiedy miała zacząć „spowiedź“.

Chwyciła kilka akordów wprawną ręką, — wtem nagle, jakby mnie piorun ogłuszył, — śpiewu jej tego nie zapomnę nigdy, nigdy. Z początku prawie ból mi sprawiała. Zdawało mi się, że piersi jej pęknąć muszą — ja tu w swoich miałem takie uczucie, jakby mi je kto rozsadzał, jakby pęknąć miały za chwilę. Nie wiedziałem, czy za piersi się schwycić, czy też biedz do niej i objąć ją ramieniem... To niepodobna, żeby taka potęga głosu była ukrytą w piersi kobiety, to niepodobna.

Fala potężna tonów obejmowała wszystko, ściany, meble — i mnie porywać zaczęła, duszę mą unosząc w szalonym wirze gdzieś w nieskończone przestworza. Sprawy sobie zdać nie mogłem, co się zemną dzieje; ten śpiew myśleć mi nie pozwolił, a nim zastanowić się zdołałem, już nowe rzucone tony mięszały mi myśl i uno-

duchowni włoscy, którzy ludność przeciw swym konfratrom słowiańskim podburzają...“

* * *

Sygnalizowany w telegramach artykuł „*Narodnich Listów*“, w którym główny organ młodoczeski zapowiada zmianę dotychczasowej taktyki Mlodoczechów, brzmi w ustępie końcowym jak następuje:

„Naród czeski walczy z polityką niemiecką od lat tysiąca; nigdy atoli dla Niemców nie było u nas uprzedzenia lub złej woli. Stronnictwa czeskie uznawały w programach swych równouprawnienie obu narodowości. Zasadzie tej pozostały wierne bez względu na przeszłość, na stan obecny i *pokrewieństwo słowiańskie*.

Nie chcemy tego, aby sprawiedliwość mierzono inną miarką dla nas i inną dla Niemców. Z obecnego położenia jesteśmy niezadowoleni. Do dziś Niemców grzeją cieplejsze promienia — i ztąd też brak zaufania obopólnego.

Upadek stronnictwa staroczeskiego spowodowało sprzeniewierzenie się zasadzie równouprawnienia. Punktacye wiedeńskie zasadę tę naruszały, bo Staroczesi na mniejszy wymiar praw narodowych się godzili. Konserwatyści i liberałowie upadek ten w równej spowodowali mierze: pierwsi, że na naruszenie zasady przystali, drudzy, że się tego domagali.

Moment ten uwydatnił najwyraźniej, z jak podejrzanego wypływa źródła polityka wiedeńska w obec nas Czechów. Krępuje ona stale akcyę narodów nieniemieckich.

Ostatnie wypadki w parlamencie austryackim okazują to samo tło polityki wiedeńskiej, nam nieprzychylnej i nieżyczliwej. Kierunku dawnego polityka tu nie zmieni tak łatwo; kwestya stworzenia gimnazyum słoweńskiego w Cylei, choćby po myśli ludności słowiańskiej została załatwioną, nie daje jeszcze rękojmi, że zniklo uprzedzenie dawne. Mimo to dziś uznajemy, że stronnictwa nasze powinny mieć na oku i *chwilowe polepszenie sytuacyi*. Polityka nie jest rzeczą serca, ale rozumu. Skoro jest jakikolwiek grunt do zdobycia, stronnictwa go zdobyć powinny, rzeczą narodu grunt zdobyty zamienić na podstawę do operacyi dalszych.

Nie wiemy jeszcze, jak sobie postąpią reprezentacye nasze wobec kwestyi, które dziś się wyłoniły. Sądzimy atoli, że należałoby korzystać z danej sposobności. *Stronnictwa polityczne nie mogą pozostawać w wiecznym celibacie. Żyją one, powstają i giną, wiecznym jest tylko naród.* Jeżeli ogół naszego społeczeństwa nie nauczy się tego, iż chwilowo zadowalniać się należy małemi zdobyczami, to nam długo jeszcze przyjdzie czekać na rezultaty ostateczne naszej akcyi politycznej...“



O ruchu etycznym.

Szkic historyczno-filozoficzny.

(Ciąg dalszy.)

Poza obrębem tego związku widzimy moralistów jeszcze wśród „Unitaryuszów“ i w „towarzystwach etycznych“. Unitaryusze tworzą na początku bieżącego stulecia, zarówno jak ich współwyznawcy w Anglii i Siedmiogrodzie odrębną sektę, rozwój ich wykazuje jednak znaczny wzrost moralizmu. Rev. J. F. Smith pisze o tem w „Encyklopedia Britanica“ co następuje: „Od roku 1815 do 1836 panują wśród Unitaryuszów poglądy biblijne, na wpół racyonalistyczne, a na wpół supranaturalistyczne, w których kiełkują już zarodki szlachetnych myśli etycznych Channinga. Od roku 1836 inauguruje krytyka pisma, transcedentalizm Carlyle'a i Emerson'a i absolutna religia Th. Parkera erę nowoczesną teologii, wprowadzając unitaryzm w zetknięcie się z nowoczesną filozofią i teologią. W roku 1865 widzimy w stanach wschodnich usiłowanie połączenia prawego i lewego skrzydła organizacyi unitarskiej przez ściślejsze sformowanie wyznania, lecz rezultatem tego jest, że w dwa lata pózniej F. E. Abboi zakłada „free religions association“, która sobie za cel stawia szerzyć — niezawiśle od wierzeń — miłość, uczciwość i prawdę. W jakiś czas później przebywają stany zachodnie podobną walkę, a w maju 1886 zwołana konferencya uchwala większością trzech czwartych części przyjęcie zasad czysto etycznych bez domieszki teologicznej“. Amerykański związek unitaryuszów liczył w roku 1825 około 125 gmin, w roku 1845 — 280 gmin, a w r. 1888 przeszło 370 gmin i około 203,000 członków dorosłych; głównym jego ogniskiem jest stan Massachusetts. Związek obejmuje aż siedem sekt (denominations), różniących się pod względem wierzeń zasadniczzch, co się tłomaczy wolnością każdej gminy w ustanowieniu swoich wierzeń. Organami związku są: „The unitarion review“ w Bostonie, „The christian register“ w Bostonie i „The unity“ w Chicago; ostatnia nosi godło: „freedom, character and fellowship in religion“. Nadto wychodzi też rocznik. „The yearbook for the Unitarian congregational churches“ w Bostonie.

Skłonność pewną do moralizmu okazują w północnej Ameryce także Uniwersaliści, postępowi Kwakrowie i zreformowane gminy żydowskie.*)

Towarzystwa etyczne w Ameryce odznaczają się najzupełniejszem poszanowaniem wierzeń u jednostek. Art. II. sec. 1, konstytucyi związku etycznego brzmi: „Ogólnym celem ruchu etycznego — jest podniesienie etycznego życia; związek wita tedy serdecznie tych wszystkich jako członków, którzy dążą do tego samego celu — bez względu na ich poglądy teologiczne lub filozoficzne.“ Z przywódzców jednak nie wszyscy umieją tę neutralność zachować, jak się to okazuje z działalności Saltera n. p. lub Stantona Coit'a. Ostatni, przedtem drugi rzecznik etycznego towarzystwa w Nowym Jorku, powiada w swej pracy o „ostatecznym celu etycznego postępowania“ z roku 1886: „Wszyscy, którzy nad swojem postępowaniem rozmyślają, potwierdzą, że życie prowadzone w myśl przekonań etycznych daje zadowolenie wewnętrzne. Z uczucia tego wszystkie pisania pobożne wzięły treść i formę. Jest ono niby ową laską pielgrzyma, o której mówi biblia. Zdaje się ono być faktem zasadniczym doświadczenia religijnego.

.....Oznacza ono rodzaj szczęścia, przywiązanego do przeświadczenia, że się czyni dobrze; można je osiągnąć w każdej chwili życia i żadna moc odebrać go nie zdoła.“ Stanton Coit obiecuje wprawdzie każdej jednostce zupełną wolność sumienia, pragnąłby jednak wszędzie tam zastąpić wierzenia moralnością, gdzie one są podstawą społeczności ludzkiej. W roku 1889 zamieszcza w czasopiśmie „The ethical record“ (publ. by the society for ethical culture of Philadelphia) organie związku etycznego Ameryki północnej, artykuł o znaczeniu ruchu etycznego, w którym mówi: „Pierwszą naszą zasadą jest uznanie dobra za łącznik społeczności.... Nie życzymy sobie zniszczenia dawnych wierzeń, pragniemy je tylko w ten sposób ożywić, by odrzuciły wszystko prócz żywotnego pierwiastku społeczności ludzkiej, t. j. umiłowania dobra“. Bardziej toleranckim jest dr. Feliks Adler; założył on w r. 1876 pierwszą „so-

*) Goblet d'Alviella, l'évolution religieuse, Bruxelles 1884.

---

siły wciąż dalej i dalej w jakiemś djabelskiem tempie.

„Vivra, contende il giubilo“ śpiewała, jakby w tem łonie jej dawno zbierały sie uczucia więzione i naraz wybuchały burzą tonów, porywając za sobą serce i umysł i duszę gdzieś daleko, okropnie daleko, gdzieś w przepaść, czy w niebiosa, tumaniąc pieszczotą półdziką i namiętną, — kołysząc w uścisku rozkosznym, a strasznym, jak śmierć.

Chciałbym, żeby przestała, to znowu, aby śpiewała tak długo, długo ażbym zmysły stracił i już nie żył, tylko czuł tę pieszczotę tumaniącą. Boże, Boże, jeźliś na duszę moję, jak na lutnię struny napiął, wtedy chyba pół strun twych śpiew ten pozrywał. Jeźli to była spowiedź, to spowiedź jakiejś tytanicznej duszy.

Cały drżący, rozgorączkowany, roznamiętniony, siedziałem na otomance swej — już nie byłem zupełnie przytomnym, tylko jakiś upojony, porwany, przybity.

Gdy skończyła i podniosła się z taburetu, przystąpiła do mnie, jeszcze w rysach jej i w oczach było coś podobnego do tej pieśni, jakby tony te najprzód w piersi jej skonały, potem w twarzy, — potem w oczach dopiero gasły. Spoglądała prawie dumnie i jakby z duszy ciężar jakiś zrzuciła, który ją przedtem przygniatał.

— I cóż, zna mnie pan teraz? — spytała, gdy pierś jej jeszcze oddech podnosił gwałtowny.

Chwyciłem jej ręce drobne, drżące jeszcze, i tonąc wzrokiem w jej spojrzeniu odparłem:

— Znam cię, znam na całe życie. Któż ty jesteś pani, ja korzę się przed tobą, umarłbym u twoich stóp.

Siadła obok mnie na kanapie, nie cofając ręki z mojej dłoni i podpierając głowę na wolnej ręce.

— Mówią mi Ida, — nazywaj mnie pan także tem imieniem — odparła.

Potem słuchałem słów jej, a ona mówiła długo, twarz jej się mieniła, i opowiadała gorączkowo, jakby wiele, wiele miała na duszy i to wszystko wypowiedzieć chciała, aby nic nie zostało.

Pamiętam, że, siedząc przy niej, pojąć nie mogłem, że to nie sen, nie marzenie. Ona taka potężna, od której niedawno oddzielał mnie pokój cały, która mnie porywała mocą duszy swej, teraz tak blizko mnie — wielka, święta, nietykalna, a przytem miłosierna, dobra, że do mnie zbliżyć się zechciała.

Byłem uklęknąć gotów, aby modlić się do niej.

Tak siedziała przy mnie, ot, jakby tu na tej otomance, a teraz nie słyszę jej głosu, nie ma jej ze mną. Ach, wyćbym mógł, jak pies czołgać się z bólu!

Mówiła wtedy do mnie tyle, a jednak jest w duszy mej komórka, w której każde słowo jej, jak żywe jeszcze, i pamiętam, jak dziś, gdy patrząc przed siebie pałającemi oczyma, mówiła:

— Panu dziwną musiałam się wydać dziś tam, na wystawie. Czasem tak na mnie przyjdzie, sama nie wiem, zkąd; nie dobrze mi wtedy w domu i pragnęłabym słyszeć huk morza i widzieć łamiące się u nóg mych bałwany; chciałabym zobaczyć coś takiego, coby mnie zdruzgotało, zmiażdżyło. Dziś pana obraz zdawał mi się odbiciem takich myśli moich, pojęłam, że panu tak samo czasem; tylko, że pan to oddać może farbami, a ja muszę mieć kogoś, któryby wysłuchał myśli mojej.

I tak mówiła jeszcze długo, a była w niej taka siła, że poddawałem się jej dobrowolnie. Może to była moc natchnienia, potęga jej śpiewu.

Wieczór zapadł i było już tak ciemno w pokoju, że nic widzieć nie było można, a ja siedziałem jeszcze ciągle przy niej, szczęśliwy — trzymając rękę jej w dłoni.

Pamiętam, gdy wyszedłem od niej z ciemnego pokoju w noc gwiaździstą, nie wiedziałem z początku, co się ze mną stało. Chwyciłem się za czoło rozpalone i wytężyłem pamięć: wiesz ty tylko dobrze, że to rzeczywistość? — Doprawdy rzeczywistość? Otaczała cię taka ciemność! Było mi, jakbym się ze snu obudził.

Gdy wszedłem do tej pracowni, nie widząc jeszcze zupełnie nic, rzuciłem się, pamiętam tak jak teraz, na otomankę i schwyciłem oburącz za głowę, wsłuchany w swoich myśli gmatwaninę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ciety for ethical culture" w Nowym Jorku, na której czele pozostaje dotąd jeszcze.

W swej mowie o potrzebie nowego ruchu etycznego powiada:

„W końcu jest zadaniem tego ruchu zrodzić wiarę etyczną, optymizm moralny, wiarę, że wszechświat sprzyja uczciwemu postępowaniu, że w rzeczach istnieje kierunek ku dobru. Wiary takiej nam trzeba.... logicznie dowieść jej nie możemy... Czyń dobrze, a będziesz w dobro wierzył. Rzuć się w prąd dobrych sił w świecie, a odczujesz potężny ruch z prażródła idący". Gdzieindziej*) znów mówi: „Założyciele towarzystw etycznych mniemają, że nowego światopoglądu nie można osiągnąć za pomocą nauk przyrodniczych, do mechanicznego pojmowania rzeczy prowadzących, a tylko przez doświadczenie etyczne... Nie zajmujemy bynajmniej wrogiego stanowiska wobec dawnych wierzeń, tolerujemy nietylko i cenimy przekonania religijne, lecz mamy nawet nadzieję, że na drodze kultury etycznej dojdziemy do nowego światopoglądu i do — wolno nam to powiedzieć — przekonań religijnych." W tym samym duchu działają S. B. Weston**) w Filadelfii i L. Sheldon w St. Louis.***) Związek towarzystw etycznych w Nowym Jorku, Filadelfii, Chicago****) i St. Louis liczy w. roku 1888 około 1200 członków; od tego czasu znacznie wzrasta i rozwija się przez zakładanie towarzystw filialnych, odpowiadających różnorodnym potrzebom życiowym, a umożliwiających dlatego najobszerniejsze zastosowanie zasad etycznych.

W *Anglii* ruch etyczny nosi nazwę *sekularyzmu*. Inicyatorem tego ruchu i jego nazwy jest londyński literat i księgarz G. J. Holyoake, którego „system etyczny" w roku 1846 i latach następnych w sferach najmickich entuzyastycznem cieszy się przyjęciem. Tworzy się już wtedy kilka secular societies jako filie „national secular societies" odznacza się bezwzględnem wypisaniem na sztandarze swoim wrogiego stanowiska wobec dotychczasowych wierzeń, a szczególniej walką przeciw teologii zwróconą. Przez długi czas national secular society jest jedynym etycznym związkiem w Anglii. Lecz w r. 1875 Karol Watts, poróżniwszy się z Bradlaugh'im występuje z redakcyi National Reformer'a i razem z G. J. Holyake'm zakłada odrębną „The british secular union", której organem jest redagowana przez Watts'a „secular review". „The british secular union", wyznaje moralizm zupełnie zgodnie z national secular society, a różni się od niej tylko w środkach działalności. Bradlaugh i jego zwolennicy występują zaczepnie i gwałtownie przeciw starym instytucyom, kiedy Watts i Holysoke pragną powolnego ich obumarcia przez odebranie im soków żywotnych. To stanowisko wyczekujące jest rysem znamiennym moralizmu „agnostycznego" british secular union. „Stanowiskiem związku wobec rozmaitych faz supranaturalizmu jest agnostycyzm" — tak brzmi najgłówniejsza zasada nowego związku. Działalność obu związków jest nierówna. Związek dawniejszy obejmuje około 15000 członków w 53 stowarzyszeniach, z których 18 znajduje się w Londynie. Rzeczników związku jest 43, między nimi A. B. Moos, S. Standring, G. Standring, I. M. Robertson, W. Heaford, C. I. Hunc, Stanley Jones i t. d. Corocznie pojawia się sprawozdanie „The national secular society almanach", dając pogląd na ruch w Anglii i w całym świecie, redagowane do roku 1891 przez Karola Bradlaugh'a i panią Annię Besanc, odtąd zaś przez Foote'go i Wheeler'a. Organami związku są wspomniany już National reformer i „The freethinker". Przeciwnie związek młodszy chyli się do upadku. W roku 1884 Karol Watts widzi się zmuszonym wyemigrować do Kanady i dla tego kierownictwo secular review oddaje Saladinowi (W. St. Rossowi), który reprezentuje religijną odcień agnostycyzmu i secular review przemienia na „The agnostic journal".

W roku 1887 Stanton Coic, powołany do South Place Chapel w Londynie przenosi północno-amerykański ruch etyczny do Anglii. Owa South Place Chapel jest to — według jego opowiadania — prosty stary budynek z cegieł wśród samego zgiełku londyńskiego city się znajdujący, tak nazwany od ulicy, przy której leży. Przez lat 63 każdej niedzieli zgromadza się tu gmina, której historya tylko do roku 1817 wstecz zbadać się daje, a która postępowała i postępuje ciągle od teologii ku umiłowaniu dobra. Od roku 1817 do roku 1852 gmina ta rozwija się pod kierownictwem Rev. W. I. Foksa, który od roku 1833 nie wybiera już tekstu Pisma za temat do kazań swoich. Od roku 1852 do 1863 gmina ta nie ma kaznodziei. Następnie miewa wykłady przez lat 21 Mr. Conway; gmina rozwija się coraz bardziej, na zgromadzeniach porannych odczytują wzniosłe ustępy z literatury wszechświatowej. Przed dziesięciu jeszcze laty wyznaje wolnomyślny deizm, a dopiero w ostatnim dziesiątku lat w zupełności na tory właściwego moralizmu wkracza. Od roku 1884 gmina znowu nie ma kaznodziei, lecz mimo to co niedziela zbiera się dla wysłuchania wykładów, wygłaszanych przez osobistości zapraszane. Dowodem jej rozwoju, że na żądanie Stantona Coit'a przyjmuje miano towarzystwa etycznego. Prócz tej South Place Chapel, a właściwie South Place ethical society istnieje w Londynie jeszcze od roku 1887 Essex Hall ethical society, nie wroga wcale prądom dotychczasowym; zostaje ona pod kierownictwem profesora W. Wallace'a i Bernharda Bosanquet'a, a cieszy się poparciem profesorów Seeley'a i Sidgwick'a. Nadto istnieją też towarzystwa etyczne przy uniwersytetach w Oksfordzie, Cambridge, Edinburg'u i Glasgowie. Zwolennikami ruchu etycznego są także z wybitnych myślicieli Bentham, I. St. Mill, Morison, I Morley i t. d.

Ruch ten przejawia się nadto:

w Belgii — 35 związków wolnomyślnych, czasopismo „La Raison";

w Holandyi — National society, de Dageraad w Amsterdamie i Het vrije woord w Rotterdamie,

w Szwecyi — De förnufistroendis Samfund i Götoborg i Utilistika Samfundets, czasopismo Fritankaren V. E. Lennstrand'a,

w Czechach — związek wolnomyślnych — czasopismo „Freidenker" w Libecu;

w Szwajcaryi;

we Włoszech — towarzystwa w Rzymie, Medyolanie i Florencyi, czasopismo „Il Libere Pensatore" Stefanoni'ego w Rzymie, nadto towarzystwa w Pizie i Neapolu,

w Hiszpanii we wszystkich większych miastach, tamże czasopisma:

w Portugalii — Associacao propagadora do livre pensamento centro di Lisboa — dwa czasopisma;

w Kanadzie — Montrenai pioneer freethougt club i general freethought association w Toronto. Organem ostatniego związku jest „secular thought", wydawany przez Karola Wattsa, założyciela wyżej wspomnianej „british secular union",

w Brazylii — towarzystwo pozytywistyczne,

w Wiktoryi – Australasian secular association; czasopismo „The Liberator" Symes'a w Melbourne,

w Nowej południowej Walii — Australasian freethought union z czasopismem Freedom, ed by Collins, Sydney, dalej „New-Castle", „The liberal association" „Brisbane freethought association" i „Australasian secular friendly benefic society"

w Queensland;

w Nowej Zelandyi — Dunedin freethought association — „The Rationalist" et by Erison, Auckland;

w Tasmanii;

w Indyach wschodnich — The Madras secular society — czasopismo „The thinker",

na Przylądku dobrej nadziei — Port Elizabeth Freethought association.

Pisma etyczne wychodzą też: w Ecuadorze — „La Verdad" (Prawda) i w Venezueli — „El Libre-Pensador", a moralistów znachodzimy nawet w Chinach i w Japonii.

Dr. Garfein.

(*Dokończenie nastąpi.*)

*) „Die ethischen Gesellschaften", ein Vortrag, gehalten in Berlin am 3. Juli 1892 von Dr. Felix Adler aus New-York. Berlin; Ferd. Dümmler.

**) S. B. Weston. „The reed of an ethical religion: ethical culture, Philadelphia 1885 A. Billstein. „Ethical societies and speculative belief". „The conservator" vol. I. Nr. 2 Philadelphia 1890.

***) W. L. Sheldon, an ethical view of prayer, St. Louis, Arnstein.

****) Kierownikiem jest W. Salter.



Jan Kasprowicz jako poeta.

(*Odczyt dr. J. N. Szumana, wygłoszony w towarzystwie Stella*).

Kto z nas miał sposobność porównać na jednem miejscu skupione płody ducha i rękodzieł narodu naszego, — do czego n. p. ostatnia wystawa lwowska znakomitą nadawała sposobność, — tego uderzyć musiała ogromna dysproporcya między temi dwoma dziedzinami. Ogrom energii nagromadzony w przybytkach sztuki, — nieznaczne początki, niejednokrotnie pierwsze dopiero kroki na polach przemysłowych i rękodzielniczych. A jednak — wystawy krajowe, ograniczając się na płodach malarstwa, rzeźby i architektury, z natury swojej bardzo niedokładny tylko dają obraz rozwoju duchowego i artystycznego danego narodu.

W rzeczywistości stosunek tych dwóch działów w społeczeństwie naszem przedstawia się jeszcze daleko ujemniej dla płodów przemysłu i rękodzieł.

I niewątpliwie te niedostatki nasze mają swoje głębokie przyczyny, nad któremi nie tutaj miejsce się rozwodzić, — i niewątpliwie nie są one jedynemi naszemi niedostatkami i próżno przeczylibyśmy, że głos i znaczenie narodu naszego wśród chóru politycznie samodzielnych narodów Europy zaledwie dosłyszalnem echem rozbrzmiewa — a jednak dzisiaj, kiedy niewola nasza wiekowego kresu dobiegła, śmiało powiedzieć możemy, że pod względem sztuki nie ustępujemy żadnemu z mocarstw, którym utratę naszej niepodległości zawdzięczamy — i jest to może najwybitniejszy dowód żywotności naszego narodu.

Naród żyjący, któremu odjęto sposobność prawidłowego rozwoju, który nie może porówno z innymi na wielkiej arenie politycznej głosu podnosić, musi, chcąc określić swoje dążenia, nadzieje przyszłości i swój stosunek do innych narodów uciekać się do sztuki. Nasi politycy odgrywają niejednokrotnie rolę wołających na puszczy — płody naszych talentów literackich, — tłomaczone na wszystkie niemal języki europejskie, — przemawiają wymowniej za nami do całego cywilizowanego świata.

W tym pogrobowym chórze narodu rozbrzmiał i z naszej wielkopolskiej dzielnicy poczesny głos, — wydaliśmy na świat pierwszorzędny talent poetycki, dziecko kujawskiej ziemi, *Jana Kasprowicza.*

Dzieje rozwoju tego, niezwykłą twórczością obdarzonego talentu, są tak bogate treścią, że z konieczności ograniczyć się tu musimy na ogólnem scharakteryzowaniu poety i na rozpatrzeniu się bliższem w dwóch ostatnich tomach jego poezyi: „Anima lachrymans" i „Miłość".

Kasprowicz jest poetą o niezwykle silnej indywidualności. Do tych polotów ducha, które muzie jego ogromny i nadzwyczaj różnorodny materyał poddają: — czucie chłopa polskiego i gorące kwiaty wyobraźni biblijnego proroka — tajemnicze wdzięki przyrody i dociekania filozoficznej treści — groza i piękno śmirci i tajniki własnej cierpiącej duszy — ekstazy zmysłów i miłości i współczesne zagadnienia czasu — dostosowuje poeta niezwykłe i różnorodne formy. Jako poeta ludu przedstawia nam chłopa wielkopolskiego bez idealizowania i upiększeń z wier-

nością portrecisty, któremu chodzi jedynie o prawdę życiową w obrazie.

Całe to życie płynące w znoju ciężkiej pracy — głos przyrody przemawiającej do serc prostaczych, a jednak nie pozbawionych czucia — i niedzielne skrzypki, zlewające się z wyziewami wódki, i pogrzebowe dzwony kościółka — i porywy szlachetne i pogrzebane nadzieje i nędza i zbrodnia — wszystko to przesuwa się przed naszemi oczami z objektywizmem nie znanym dotychczas w naszej poezyi:

Wyruszyli oracze na pole,
Ostry lemiesz czarną ziemię kraje,
Przeorali jedno, drugie staje,
Rosą potu spływa trud po czole;
Przecież radość bierze
Na te skiby świeże,
Na zapach, co ogarnia chlebodajną glebę.
I z tej piersi sukmaną okrytej,
Od bławatów promienniejsze zwrotki,
A tak wonne jako miód ten słodki,
Co z bzów sączy — wznoszą się w błękity
Nad oraczów głowy,
Aby w deszcz majowy
Skroplone, paść na trawę i na kwiat rozwity.

Jest tam włościanin „Król z Biedaczewa“, który oddaje gospodarstwo swym dzieciom, a potem jak szekspirowski Lear, wygnany na słotną noc przez syna, naprożno kołacze do zamkniętych drzwi swej córki:

A! otwórz, córo jedyna!
Ojca wygnali!
Północna prawie godzina,
Jać nagi trzęsę się cały,
Jak ze zmokłego gada ciecze woda!

Ale to próżne wołania — córka, której się zdaje, że przy działach pokrzywdzoną została, odsyła go do syna:

I poszedł... Burza się wzmaga,
Burza szalona,
Jak potwór kładzie się naga
Czarnem swem cielskiem na ziemię,
To znów się zrywa i gromów maczugą
Razy wycina
Po grzbiecie boru,
Co jęczy bokiem od wsiska,
To znowu błyska
Płomiennem okiem błyskawic,
Skrami ogniska,
Które rozpala krwawa dłoń demona,
Pośród chmurzystych tych mgławic.
To znów ta burza
W swych mrokach nurza
Świat nędz i zbrodni, co drzemie
W paszczy potworu;
To znowu z gromem, swym sługą
Wije się jasną i długą —
Olbrzym-gadzina...

Jest tam dziewczyna, która zawierzyła zaklęciom zamożnego syna gospodarskiego, ale zdradzona i ścigana szyderstwem gromady, stoi z dzieckiem, owocem zakazanej miłości na ręku za wsią, nie pewna, gdzie zwrócić swe kroki. Jeszcze brzmią jej w uszach szydercze echa tłumu, — jeszcze wspomnienia niedawnych pieszczot ukochanego mięszają się w jakiś ogłuszający chór z gniewnemi słowy ojca, który za wstyd, zgotowany rodzinie, wygnał ją z domu. I razem z widmem grożącej jej zagłady, budzą się w drgającym pełnią siły organiźmie instynkta samozachowawcze i poczucie, że to dziecko, które u jej piersi bezwiednie zasypia, będzie jej na tej drodze przeszkodą i zakałą. I rozpoczyna się okropna walka instynktów życia z uczuciami macierzystej miłości:

O tak! jak brzytwy tonąca,
Schwyci się życia.
Ale cóż pocznie to niewinne dziecię?
Spojrzy... za wioską wśród trzciny ukrycia
I wśród sitowia, co wieńcem się plecie,
Staw przebłyskuje,
Staw!
Nakształt szarugi rozdartego wycia
Burza w jej wnętrzu starganem zawrzała:
O Chryste! zbaw
Duszę, co sił już nie czuje!
Zmartwiała
Z tą prośbą stała.
A słota,
Coraz ostrzejszą poświstując groźbą,
Ostatnim liściom swą kośbą
Życie odbiera,
I na jej lice dżyżysty oddech miota.
Szarpie niebieską spódnicę i zdziera
Chustkę z jej ramion, śród których sierota
Dziecko zapadło
W sen...
Oto się budzi, oczęta otwiera
I kwilić pocznie ta gołąbka mała,
A ona hen!
Ku wodzie mając twarz zbladłą,
Jak skamieniała
Nieszczęsna
Stała...

Jest tam Marcin Szafran, zwany Wiechetkiem, któremu rude włosy i twarz piegowata stanęły nieprzebytą zaporą w miłości. Kiedy ubóstwiana Kaśka oddała serce i rękę Wojtkowi „jeszcze bardziej utracił na cerze, zżółkł i posmutniał“ — ale w karczmie nie daje poznać po sobie, jak głęboko dojęła mu Kasina zdrada, — jak dawniej „przytupuje nogą — wyprawia przysiudy, aż się kolana stykają z podłogą — aż się na głowie włos rozwiera rudy.“ Jakaś twarda melancholia bije z tej postaci. —

Jest urocza Hanka Olpińska, żona szewca pijaka, która, szukając rekompensaty za życie płynące w poniewierce i bólu, przelała razem z miłością macierzystą wszystkie tłumione nadzieje cierpiącego serca na syna jedynaka. Wyobraźnia matczyna, nie mogąca wśród ohydnej atmosfery domowej znaleść karmu dla siebie, błąkała się gdzieś po niebiosach i widziała w swoim jedynaku jakiegoś przyszłego Messyasza, mającego świat na nowe tory poprowadzić i nową erą szczęśliwości złagodzić cierpienia tej ziemi. Więc każdy grosz, który zdołała ocalić przed pijacką żądzą swego męża, łożyła na szkołę dla syna, aby nadzieje swe tem rychlej w rzeczywistość zamienić.

„Ale czas przyszedł, gdzie matczyne dłonie
Nie wystarczyły. Syn o kiju ruszył
We świat, by szukać, gdzieś w dalekiej stronie
Nowej nauki, którą znaleść tuszył
O własnych siłach — — — —
Co się z nim dzieje, matka nie odgadnie...
Aleć zdaleka niby jaka chmura,
Co naraz jasne niebiosa opadnie,
Wieść do jej duszy spłynęła ponura,
Że w synu, z nędzy zbudziła się zdradnie
Straszna, zabójcza, ojcowska natura,
Co nieraz w całe mści się pokolenia. —
Gdzież jej królestwo Boże? gdzie są jej marzenia!?

Takich postaci z życia wziętych, malujących z przedziwnym kolorytem ten dotąd w poezyi niedostatecznie wyzyskany świat, znajdujemy w utworach Kasprowicza wielkie mnóstwo. Tylko on umie łączyć jędrność i ową otwartą szorstkość języka ludu naszego z wymogami prawdziwej poezyi.

A jednak owa szorstkość zmienia się w dźwięki o dziwnej harmonji i miękkość, kiedy przyjdzie mu opisywać czary przyrody, — albo ponęty ciała niewieściego, — albo własnej duszy mary i cierpienia.

Duch jego wabiony „wieczyście młodą“ przyrodą zrzuca łańcuchy tej ziemi i wyzwolony z kajdan pożądania, ogarnięty dziwem patrzy na jej piękności i śpiewa peany radosne, w których odczuwamy jej barwy o sile uzdrawiającej i jej odgłosy, z których płynie spokój na dusze cierpiące.

Niech przed Naturą moje myśli klękną,
Niech z bożych gońców pospiechem
Lecą za echem
Tych hymnów wielkich, co biją jak gromy,
Albo tak huczą jak morze o złomy
Skał pożłobionych, albo tak szeleszczą,
Jako te wiatry, co pieszczą
Rozmiłowane w ich poszumach sosny.

Ma on jakąś mistyczną zdolność zlewania swej duszy w harmonijną jedność z wdziękami natury, — a wtedy płyną potoki słów o niezwykłej głębi uczucia, szumi jakiś hymn potężny, jakoby odgłos puszcz prawiecznych, gdzie człowiek nie przeciwstawia się naturze, bo siły które go na świat wydać mają, drzemią jeszcze w tajemniczych głębiach przyrody.

Przypłynął ku mnie cichy przytłumiony
Jęk wszczęty w sosnach na krawędzi boru
I wnet ogarnął wszystkie drzew korony,
Spowite w ciszy letniego wieczoru.
I las tajemnych dźwięków milijony,
Rozpełzujących się w głębie przestworu,
Jął wydobywać z swej piersi zielonej,
Zbyt późne echa przedwiecznego choru,
I moją duszę, jakby była drzewem
Pełnem konarów, liściastych gałęzi,
Szum ten głęboki w dziwne wprawił drzenie, —
Nim się spostrzegłem, z cielesnej uwięzi
Rwie się i płynie w ślad za sosen śpiewem
Gdzieś w bezgraniczne, nieznane przestrzenie.

Kasprowicz jest poetą na wskroś nowożytnym; nie wacha się starych, utartych wyobrażeń, którym ogół hołduje, ochrzcić otwarcie mianem przesądu i na miejsce dawnych bogów i idolów postawić nowe życiem i siłą tryskające, bo

„Nie taki cel boskiego męża,
Aby się lękał przed obelgą tłumu,
Co, jak kłos z ziarna, odarty z rozumu,
Na swych najlepszych dobywa oręża.“

Wierzy on w przyszłość, co rozjaśni beznadziejne mroki współczesne i duch jego „po nad tę ziemię ciemności i sromu“ patrzy w dalekie horyzonty „gdzie z po za mgławic wystrzela swobody jasna potęga.“

I naprzeciw szachrajom „co syczą niby chytre węże“ i naprzeciw zaprzańcom, „co się kryją w głębi wygodnego cienia„ i naprzeciw helotom spodlonym niewolą „co liżą krwawe dłonie“

Zbrojne w żelazo i padają plackiem,
Zamiast do góry w swoich praw obronie
Podnosić czoła, — — — —

ciska swój protest niepodległego ducha:

„Głos od wojennej silniejszy fanfary:
Z drogi szkielety, z drogi, którym oczy
Na nic żwirowa wyżarła kurzawa,
Oto się zastęp nowych jeźdźców tłoczy,
Ustąpcie prawa!“

A że w tej walce, toczącej się na nierównem tle codziennego życia nie zawsze i nie rychło duch zwycięża, — więc po chwilach promiennych przychodzą zaćmienia ducha i ból i pragnienie nicestwa. A wtedy śmierć wydaje się inną, niż ją stworzyła wyobraźnia szarego, życiu potakującego tłumu — i tam, gdzie spragnieni życia widzą „zimną i cuchnącą martwość żółtej kości i puste jamy oczodołów“, uśmiecha się poecie piękność wieczysta i zapowiedź upragnionej na wieki ciszy.

„O śmierci! bolejących jestestw zbawicielko!
Ze sfer, gdzie myśli ludzkiej opadają skrzydła...
— Do wymarzonych włości
Zabierz mnie dzisiaj, gdzie się duch nie żali,
Gdzie rozkosz sączy kropla za kropelką....
O śmierci! bolejących jestestw zbawicielko!“

Ale cierpienie i pragnienie niebytu nie jest kresem, — duch błąkający się po samotnych wyżynach, widzi przepaść, dzielącą go od współczesnego świata i doznaje wstrząśnień bolesnych, które na nowo twórcze siły napinają. Wtedy przejęty poczuciem nieubłaganej konieczności losu, który stawiając człowieka nad syty tłum jednodniówek — nie sięgających wzrokiem po za marne radości i dążenia dnia dzisiejszego, — tem samem na ból i prometeuszowe męki go wskazuje — nie miota się w bezsilnej wściekłości, ale błogosławi boleści:

Bądź pozdrowiona, o ty bez promienia,
Który nadzieją martwe serca pieści,
Spowita płaszczem bezdennego cienia,
Źródło mej pieśni, macierzy natchnienia
Boleści! —

W przedstawieniu miłości przeważają wschodnie gorące barwy i blaski — i chór pobudliwych, grą wyobraźni podnieconych zmysłów poety płonie tam w namiętnych całopaleniach.

Miłość, dawczyni łask,
Zrodzona pośród błękitów,
Wiewem mnie swoim owiała.
Ach! i od bluszczów wiotsza
Pnie się ma dusza
Płonąca cała
Około pragnień drzewa,
Co swym wierzchołkiem ku błękitom sięga.
Przejmuje słodki ją dreszcz. —
Wszystkie w niej struny porusza
Jakaś ukryta potęga,
Jakaś nieznana dłoń,
I dusza ma
Jak lutnia gra,
Radosne hymny śpiewa.

Miłość to wolna od więzów, które świat na nią nakłada, depcząca jego prawa — i jak starożytna Afrodyta z fal morskich się wynurzająca, dumna swą nagością. Do prawdziwych skarbów erotyki należy pieśń; „W turniach„.“

Dwoje ludzi, upojonych miłością ku sobie, błądzi wśród śnieżnych wyżyn tatrzańskich, wśród aureoli blasków słonecznych, rozbijających się w brylanty na kryształach wieczystych śniegów, wśród grozy ciemnych lasów świerkowych i dzikich, poszarpanych skał — i święci na tej pustyni martwej swą miłość:

„Widzisz, zapadła noc,
Cicho jak w wielkiej mogile,
Świat nam spoczynku nie spłoszy. —
Cóż nas obchodzi świat
I jego wszystka moc,
Cóż nas obchodzić może?
Tu, gdzie tych głazów spad,
Miękkie zgotuję ci łoże
I od mroźnego tchu
Ciałem cię własnem zakryję!
Do snu
Tulić cię będą gorące
Całunki me!
Wypiję

Krew z twoich żył
I swe oddechy wrzące
W twe żyły tchnę
A świat roztrącę
W pył!..."

Czasami jednak stopiona płomiennem tchnieniem powłoka zmysłowa opada i ukazuje nam kształty idealniejsze — i wtedy miłość staje się słupem ognistym, prowadzącym z trzęsawisk tego życia ku jasnym wyżynom duchowym. Jak nieskalana kapłanka znicza pali święte ognie, broniąc do duszy wrażliwej przystępu brudnym podszeptom i ponętom świata. I wtedy powstają jasne, dziwnym czarem owiane obrazy o wprost odmiennym kolorycie, jakbyśmy nagle z żarów słonecznych przeszli pod dobroczynny chłód miesięcznych blasków:

„Gdy mnie ogarnia zmrok, co dusze człecze
Tak natarczywie aż do ziemi tłoczy,
Spieszą nademną zbawczą spełniać pieczę
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.
I zło, uchodząc po za sobą wlecze
Tabor swych skutków i w nicość się toczy,
Tak je spłoszyły, jak cherubów miecze,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.
I znów oczyszczon i znowu ochoczy
Do tego życia, które mi zmieniły
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.
Tulę do piersi ten mój skarb uroczy
Ach i całuję pełen nowej siły
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy."

Łatwość słowa i wiersza, niezwykły polot wyobraźni, nasuwający prawdziwy natłok porównań, ogromna giętkość języka — właściwości wynoszące Kasprowicza po nad plejadę współczesnych poetów, tworzą zarazem niebezpieczeństwo dla jego muzy. Myśl, przytłoczona takim balastem słów, częstokroć nie uplastycznia się dostatecznie, wyobraźnia czytelnika nie znajduje już karmu dla siebie. Nadmierna długość zdań przerywanych masą epizodów, powiększa jeszcze ten brak przejrzystości. Te właściwości jego poezyi, w parze ze skłonnością do refleksyi, nadają jej pewną miękkość, nie dozwalającą wznosić się do owej druzgocącej siły, cechującej zazwyczaj pierwszorzędnych poetów. Dla tego popada on łatwo w ton gawędy, chociaż powiedzieć nie można, aby ta właśnie forma poetyczna przemawiała najsilniej do czytelnika. Tam, gdzie podniosłość treści i trudności wiązanej formy nie pozwalają na wyżej wspomniane błędy, powstają też prawdziwe perły poetyczne, krótkie liryczne wiersze, porywające dźwiękiem słowa i głębią uczucia.

Taką przedstawia się poezya Kasprowicza, jeżeli objektywnie zestawimy jej światła i cienie, o ile to w takim dorywczym szkicu jest możliwe. —

Jest jednak jeszcze inny probierz, przemawiający wymownie na korzyść poety. Między nami, na glebie, która go wydała, jest Kasprowicz jako poeta tak dobrze jak nieznany. Tak raz jeszcze sprawdza się przysłowie: „*Nemo propheta in patria.*"

Zaiste na szerokiej trzeba stanąć duchowej widowni i wysoko nad społeczeństwo wynieść się umysłem, aby możność porozumienia ustała. Szary tłum, któremu wiekowym wysiłkiem wpojono zasady etyczne ma skłonność to, co jest tylko etapem rozwoju, zamieniać na niezmienne prawa i wynosić na piedestały świętości. Ale ci, co stojąc na wyżynie, wzrok wysyłają aż do dalekich mroków przeszłości — i widzą początki i powolny rozwój tych ideałów, wynurzających się nieraz wiekową przemianą z drapieżnych i egoistycznych popędów człowieka — patrzą innemi oczyma na dzień dzisiejszy i rozumieją, że jutro może w proch rozmieść posągi przed którémi dziś w prochu czoła chylimy.

Inny też jest podkład fizyczny organizmu poety. Wrażliwsza zmysłowość, silniejsza, bo na skarbach własnego szczodrego serca zbudowana wiara w ludzi, nadmierna pobudliwość wobec zewnętrznych podniet i te ognie zapału, — niezrozumiałe dla zimnego, rachującego ogółu, — oto zwykłe przyczyny owych „błędów" życiowych, które czasami na nowe zawrotne wyżyny twórczości niespokojnego ducha prowadzą, — czasami pędzą go po spadzistych stokach wykolejenia.

Gdy miarowy wiatr chłoszcze obszary oceanu, chwieje się tylko powierzchnia i pędzi ciężkie, bezsilne fale ku brzegom. — Ale gdy orkan zahuczy nad odmętem, podnoszą się spienione bałwany jak góry i odsłaniając ciemnych głębin tajemnice, wstrząsają skały nadbrzeżne w posadach! Takim odmętem, na którym orkany uczuć ogromne harce wyprawiają, jest dusza poety. A ogół, do którego zdala dochodzą echa tych walk tytanicznych i przebłyski głębin ducha odsłanianych w boleści — zbiera perły i korale pieśni, które burza wyrzuciła na brzegi, i zbogacony połowem, przykłada własną miarę do poety, sądzi go — i znajduje winnym.

Tak jest dzisiaj — i tak zapewne długo jeszcze będzie na świecie. — A ci, przeciw którym głos potępienia się podnosi — nie skarżą się na to.

Pionierzy dalekiej przyszłości, zapatrzeni w jasne swoje cele, w życiu codziennem i w walce o chleb powszedni nie bardzo radzić sobie umieją — i nie dbają o poklask współczesnych.

A kiedy smutnej rzeczywistości ciernie wbijają się w ciało, nie jęczą i nie złorzeczą światu, ale z dumą podnoszą głowę i wołają z Kasprowiczem:

Że mi podano gorycz do wypicia,
Co jadem swoim zdrój miłości truje,
Żem wśród czarnego nie znalazł pokrycia
Złocistych cacek i jasnych farb życia,
Nie żałuję...

Że moja dusza walkami się strudzi
I że tych kajdan los jej nie rozkuje,
Że żywot skończę z daleka od ludzi,
Że mnie do nieba archanioł nie zbudzi,
Nie żałuję.

Jeszcze o restauracyi *ruiny kościoła N. P. Maryi* w Inowrocławiu.

(Dokończenie.)

W zupełnem przeciwieństwie do tego stanęliśmy *w programie* naszym, który radzilibyśmy gorliwemu, ale nie dosyć z tego rodzaju zadaniem architektonicznem obeznanemu autorowi repliki raz jeszcze sobie przeczytać. Do streszczenia bowiem naszego programu wyczytanego w replice Kuryera, a przeinaczającego zupełnie nasze zamiary przyznać się nie możemy. Nam zależało zarówno na *odpowiedniem* wyrestaurowaniu ruiny jak i na zadosyćuczynieniu *wszelkim* wymaganiom parafialnym tak co do potrzebnej płaszczyzny jak i wysokości nowo przybudować się mającej części. Cieszy nas, że autor repliki zabiera głos „nie tylko dla tego, że sprawa tej najstarszej świątyni w Księztwie żywo obchodzi *całe społeczeństwo*, ale i ztąd, ażeby nie poinformowani dostatecznie ludzie nie sądzili, że indolencya albo ignorancya kół interesowanych przyczyną była, że wykonanym nie został nasz plan restauracyi;" dla tego autorowi jako lajkowi nie poczytujemy za złe, iż w swem niezrozumieniu programu naszego zarzuca nam pominięcie najważniejszych warunków praktycznych, jakim przy projektowaniu *każdego* budynku zadość uczynić należy. Naszem zdaniem możnaby pogodzić restauracyą z rozbudowaniem snadnie; tylko prosilibyśmy, przy zamiłowaniu do sprawy o mniej uprzedzenia przeciwko myślom pochodzącym od swoich; wyrażamy życzenie, aby nie zagradzano teraz drogi odpowiedniejszym może pomysłom dla pory niby to już spóźnionej, podczas gdy na przepracowanie myśli ostatecznie w szkicu prof. Rinklake'go przedstawionej można było około 2 lat czasu równie drogiego poświęcić. Nie chcielibyśmy powtarzać, co w pierwszym artykule (nr. 9) powiedzieliśmy, zaznaczamy tylko wyraźnie, iż nasz program do opracowania nowego szkicu domaga się odrestaurowania starej ruiny, jako osobnej dla siebie całości, która w podany przez nas sposób mogłaby jako wyłącznie na cześć Matki Boskiej przeznaczona kaplica być z nowo pobudować się mającym kościołem połączoną, a pozostać przytem integralną częścią tego kościoła.

Nie tu miejsce do zapuszczania się na zbijanie dziwnych nieraz wywodów autora repliki „Kuryerowej", które on mieni być „dowodami na to, że projekt nasz *nie miałby i nie mógłby mieć* najmniejszych widoków powodzenia", gdyż „dowody" te bezimiennego autora wychodzą z błędnego założenia i polegają na fałszywem zrozumieniu programu naszego. Wyrozumieją nam przeto, Szanowni Czytelnicy „Przeglądu", iż przed ich forum tego rodzaju „dowodów" na tapet wyciągać nie będziemy, postaramy się z nimi rozprawić w „Kuryerze Pozn.", który dla nich łamy swe otworzył. Ciekawych odsyłamy więc do „Kuryera", gdzieśmy rzecz autora szczegółowej poddali ocenie.

Po pojęciu rzeczy, jako też nie mniej po nieobeznaniu autora z możliwością pogodzenia ze sobą różnych stylów średniowiecznych, nie trudno nam było w nim odgadnąć dyletanta, gorliwego wprawdzie, lecz lubującego się we frazeologii i zapuszczającego się przy rozprawach za daleko na pole czysto zawodowe. Replika jego zdradza dobre chęci i gotowość do pisania szumnie *de omnibus rebus*... (do twierdzenia tego np. wobec ostatniego ustępuu repliki, lub wobec ustępu o stylach sądzimy być uprawnionymi) — ale to braku zrozumienia rzeczy i niewystarczającej jeszcze na tem polu erudykcyi nie zastąpi.

Ciekawibyśmy byli, coby powiedzieli teolodzy, lub medycy, gdybyśmy odważyć mieli się wtargnąć z miną magistra w dziedzinę teologii, lub medycyny, jak to spodobało się autorowi repliki „Kuryerowej", w rzeczach budownictwa dotyczących. Nie wiem, czyby nie wzdrygnęli ramionami i nie powiedzieli tego, co ów malarz w starożytności do mądrującego o malarstwie fabrykanta obuwia. Lecz żart na stronę! Dalecy jesteśmy od tego, ażeby światłych mężów z innych zawodów odsądzać od zabierania głosu w rzeczach, naszego zawodu dotyczących. Znane są nam np. z Niemiec różne powagi na polu budownictwa kościelnego i wogóle sztuki kościelnej, nie będące architektami, malarzami itp., że tylko wspomnimy z całą czcią im należną nazwiska: Aug. Reichenspergera, kanoników Schüttgena z Kolonii i dr. Schneidera z Moguncyi, albo przedwcześnie zgasłego proboszcza frankfurtskiego Münzenbergera. Ale uznanie takie zdobywa się u fachowców dopiero mozolnemi studyami przy rozlicznych podróżach, na których wiele i bardzo wiele widzieć i studyować trzeba. Jak my pod tym względem daleko pozostajemy za Niemcami! U nas już samo zainteresowanie się rzeczywiste sztuką kościelną wysoko podnieść należy i to też u autora repliki z radością uznajemy. Niech więc te słowa, dalekie od niesmacznych pochlebstw, lecz ze serca płynące, nie zrażają autora repliki, a ucieszylibyśmy się, gdybyśmy go później jako powagę na tem polu uznawać mogli.

Na jeden wszakże zarzut, uczyniony zamysłom naszym, chcielibyśmy pokrótce odpowiedzieć. Autor repliki podaje koszta odrestaurowania starego kościoła za niewiadomo jakim „budowniczym królewskim" na 72,000 marek, które oznaczyć miano przed „przeszło 20 laty". I tę nawet, jakby sądzić można, wiarogodną cyfrę śmiałbym podać we wątpliwość, wiedząc z doświadczenia, co u nas lajkowie przez „kosztorysy" rozumieją. Dopóki mnie autor naocznie nie przekona, przypuszczam i tu grubą pomyłkę w liczbach. Może cyfra ta odnosi się do więcej lub inaczej rozbudowanej ruiny, aniżeli to naszym było zamiarem. Ruina bowiem cała, jak jest, z presbyteryum i wieżami, pokrywa okr. 464 kwadr. metrów zabudowanej płaszczyzny. Budowałem i obliczałem dokładnie kościoły podobnej konstrukcyi z drewnianemi pułapami i tam przy podobnym układzie wypadł 1 kw. metr zabudowanej płaszczyzny z gruntu nowego kościoła po 90 marek; wnosząc podług tego, mógłbym liczbę, podaną przez autora repliki, zniżyć mniej więcej o połowę, uwzględniając już trudności, jakie przy rekonstrukcyi nasunąć się mogą.

Jak pod słońcem niczego nie ma nowego, tak i rozbudowanie, przez nas przedstawione pod prostym kątem do pierwszej osi starego budynku ma swego poprzednika we wspomnianem przezemnie dawniej rozbudowaniu starożytnej kaplicy romańskiej w Gielsdorf pod Bonn (por. Zeitschrift f. christl. Kunst 1888 str. 201).

do której znany architekt koloński V. Statz w roku 1880 dwunawową kaplicę ku ogólnemu zadowoleniu *w gotyckim* stylu dobudował. Podane przez nas źródło mówi w tej sprawie: „W ten sposób ze wspólnej obydwom kaplicom wieży starej powstała w promieniach ku wschodowi i południu grupa budynków uroczo się przedstawiająca: przykład to pouczający a naśladowania godny, jak wymagania teraźniejszości porówno z wymaganiami przeszłości w praktyczny sposob uwzględniać należy. Komu wiadomem, jak często jeszcze i nie najrzadziej w miastach daleko w kulturze posuniętych, niepowetowane dzieła zamierzchłych czasów bez śladu znikają, ten nie odmówi uznania tym mężom, którzy dołożyli wszelkich starań, aby tu w ustroniu wiejskiem zachować budynek tak z powstaniem, jak i z historyą rodzinnego miejsca ściśle związany“.

W tych przekonaniach utwierdził nas jeszcze mocniej przed kilku dniami odebrany zeszyt 4. z roku 1894 wychodzącego wydawnictwa p. t. Neumeister u. Häberle, Neubauten (S. A. Seemann's Verlag, Leipzig 1894), gdzie przy dwóch katolickich kościołach parafialnych wykonanych przez arcybiskupi urząd budowniczy z Karlsruhe w podobnie malowniczy sposób zużyto poszanowania godne części stare do budowy nowych przybytków Bożych.

Autor repliki rozwodząc się nad owemi kosztami, jakieby odrestaurowanie ruiny za sobą pociągnęło, mówi jakby na odstraszenie: „Dziś z wyjątkiem północnej ściany i wyższej wieży wszystko porysowane i popaczone, częściowo grozi upadkiem.“ W pewnem przeciwieństwie zaś do tego pisze na samym końcu: „Podobnie jak nikt z gotowego chleba, choćby go znowu na mąkę starł, nowego smacznego chleba nie upiecze, — tak też i z tych starych murów, które siedem wieków na rozległe pola patrzą, żaden architekt nowoczesny obszerniejszego kościoła nie zbuduje (Jakby o tem była mowa!) Wszelkie próby i trudy w tym kierunku poniesione zdołałyby chyba tylko zniszczyć piękne propozycye (zapewne: proporcye? Przyp. Red.) rozbić harmonią architektonicznych rozmiarów tej poważnej świątyni, *która potęgą swoich murów, twardością swoich granitów, połączonych niby ołowianą spójnią ze sobą,* przetrwała tyle wieków — świadek milczący odrodzenia i upadku Ojczyzny, — symbol niewzruszonej potęgi wiary ojców naszych.“

My również i z własnych oględzin i z 10 przed kilku laty zdjętych fotografii budynku, w których osadzenie każdego kamienia można studyować, o tej „potędze murów“ mocno przeświadczeni jesteśmy; a dowiedzieliśmy się w ostatnich dniach z najkompetentniejszego źródła, że nie tylko mury okalające ruinę, lecz nawet wieża północna z 4 stron popękana, gdy ani miasto Inowrocław, ani gmina kościelna, ani stany prowincyonalne, niczego na ich utrzymanie łożyć nie chciały, z uznania godnej łaski i kosztem rządu od lat kilku przed dalszem spustoszeniem na długie lata zabezpieczone zostały. Mury z wierzchu cementem i darnią pokryto, pęknięcia wypełniono, i tam, gdzie ongi rozbrzmiewały pienia i unosiły się modły do Pana Zastępów, ma zalegnąć cisza grobowa...

Konserwatorzy rządowi twierdzą, iż ponieważ w naszych stronach nie ma ta ruina rówieśnika, (?) podług którego możnaby ją wiarogodnie odrestaurować, (?) więc zamiast restauracyę nieodpowiednio do ducha owej epoki przeprowadzić (jak to się n. p. przy kolegiacie w Kruszwicy nie z winy rządu stało) lepiej będzie ten dawny kościół P. Maryi jako cenną ruinę przed dalszem zniszczeniem zabezpieczyć i w tym stanie przekazać ją potomności jak to i gdzie indziej w Niemczech się stało n. p. ze zwaliskami klasztornemi w Eldenie pod Gryfią, lub z ruinami pałacu cesarskiego w Gelnhausen i z tylu innemi resztkami zamków rycerskich nad Renem. Sąd o tem zapatrywaniu pozostawić możemy Szanownym Czytelnikom, kładąc od siebie na właściwem miejscu znaki zapytania. Dla zwalisk klasztornych w prowincyi teraz na wskroś protestanckiej, lub dla zamków, które nie mogą mieć teraz żadnego, ani praktycznego, ani strategicznego znaczenia więcej taki rodzaj zakonserwowania zdaje nam się być uprawnionym aniżeli dla katolickiej świątyni w kraju rdzennie od wieków katolickim. Przekonani jesteśmy, iż dokładniejsze w innych stronach dawnej Polski na miejscu dokonane studya na rówieśnikach ruiny zapewneby zapatrywania nasze co do *odpowiedniego* odrestaurowania ruiny i to w połączeniu z nowo pobudować się mającym kościołem potwierdziły.

* * *

Po przygotowaniu już artykułu tego do druku był autor repliki łaskaw na zaprzeczenie nasze podane pokrótce do „Kuryera Pozn.“ podpisać krótką odpowiedź w nr. 68 tegoż pisma swem nazwiskiem. Nie podajemy go wszakże, sądząc, że czytelnikom mniej na tem zależy, a więcej na wszechstronnem wyczerpaniu dyskusyi. którą nie chcąc nadużyć gościnności „Przeglądu“ dla siebie za zamkniętą uważamy. Terazby raczej działać aniżeli rozpisywać się należało. póki czas jeszcze.

Sprostowanie. W pierwszej części artykułu tego, zamieszczonej w ubiegłym numerze, czytać należy zamiast „dusz 157“ — „**dusz 757**“.

J. Rakowicz.



Polemika profesorów.

(W sprawie przypuszczenia kobiet do studyów lekarskich).

Jest to cechą nam właściwą, że kiedy gdzieindziej nad dana kwestyą przechodzi się już do porządku dziennego, u nas wtedy zaczyna się kwestyę tę rozpatrywać i zastanawiać się nad nią głęboko, aby po wielu naradach, dyskusyach pro i contra dojść do wniosku, że najlepiej zostawić wszystko tak jak było — poczciwym ku radości i uciesze ludziom. Dowodem tego jest też kwestya przypuszczenia kobiet do studyów medycznych w Krakowie. Za granicą sprawa studyów lekarskich dla kobiet jest już dawno „ein überwundener Standpunkt.“ Pionierki sprawy kobiecej, załatwiwszy sprawę tę zwycięzko, walczą teraz w imię haseł nowych, w imię nadania kobiecie praw obywatelskich. Tymczasem u nas dopiero teraz kwestya przypuszczenia kobiet do studyów medycznych zbudziła w ciężkim śnie pogrążone umysły.

Gdyby nie to, że uniwersytet krakowski ma dla kobiet znaczenie stokroć większe, niż każdy uniwersytet zagraniczny, — gdyby nie to, — pewne poważne słowo, które usłyszeliśmy w tej sprawie w czasach ostatnich, mogłoby przejść zupełnie niespostrzeżenie. Ale do bram uniwersytetu krakowskiego kołaczą całe zastępy młodych kobiet i ważną jest dla nich wiadomość, jak na tę sprawę zapatrują się ci, od których rozstrzygnięcie jej zależy.

Z wysokości więc katedry uniwersyteckiej odezwał się głos, który miał zamiar wypowiedzieć kilka doniosłych wyrazów w sprawie dopuszczenia kobiet do uniwersytetu krakowskiego. Był to głos profesora chirurgii, dr. Rydygiera.

W czasie, kiedy sprawę otworzenia uniwersytetu kobietom, omawiano na wszystkich zebraniach towarzyskich — kiedy zastanawiano się nad nią głośno i cicho, prywatnie i publicznie, kiedy w zwykle spokojnym Krakowie powstało ogólne zainteresowanie umysłów, tak męzkiego jak żeńskiego rodzaju, w tym czasie wystąpił nagle prof. Rydygier i przemówił z katedry, przemówił z pompą senatora rzymskiego w sprawie obecnie, jak się wyraził „modnej“, i natarczywie do nas przystępującej. Na wywody prof. Rydygiera w „Przeglądzie lekarskim“ odpowiedział również w temże piśmie prof. Cybulski, któremu znowuż prof. R. nie pozostał dłużnym odpowiedzi. Zdaje się, że prof. C. pominie milczeniem ostatnie słowa swego przeciwnika, w obec więc tego, polemikę profesorską możemy uważać za ukończoną.

Polemika ta jest objawem nader ciekawym, ze względu na umysłowe stosunki kraju naszego. Jest ona w tym wypadku nietylko polemiką dwóch niezgadzających się w swych opiniach jednostek. Ma ona znaczenie donioślejsze, ponieważ charakteryzuje najwymowniej grono profesorów uniwersytetu krakowskiego, owe dwa obozy, z których jeden wraz z prof. Rydygierem żegna się z przestrachu przed okrutnem widmem lekarza-kobiety — a drugi, oceniając sprawę z szerszego psychologicznego i społecznego stanowiska i uznając skuteczną działalność lekarki za granicą, stara się usilnie otworzyć kobiecie podwoje Alma mater.

Prof. Rydygier przemówił z gnębiącym wyrokiem ku radości tych, co w kwestyi kobiecej używają argumentów tego rodzaju: niech wychodzą za mąż, niech mają dzieci, niech szyją, gotują itd., itd. ale nie... — wiecie już resztę.

Ehret die Frauen,
Sie flechten und webee
Himmlische Rosen
In's irdische Leben,

powtarza on za poetą i z tego idealnie szyllerowskiego punktu widzenia, ocenia sprawę studyów medycznych dla kobiet. „Póki u mnie w Mydlnikach słowik śpiewa i żer przynosi samiczce, póty ja w możliwość równouprawnienia kobiety nie uwierzę“ — powiada prof. Rydygier w swoim artykule. Cóż jednak powie szanowny profesor na to, jeżeli sprawa równouprawnienia kobiet postąpi znacznie naprzód, a jego słowiki dalej jaknajcudniej wyśpiewywać będą?

Tak jak równouprawnienie kobiet jest „nonsensem,“ tak studya lekarskie są czemś zupełnie dla kobiety nieodpowiedniem — w oczach prof. R. Kobieta bowiem tak pod względem sił fizycznych, jak zdolności umysłowych nie jest w stanie uczynić zadość obowiązkom lekarza praktykującego. Będąc lekarzem na wsi, bywa-by nieraz w położeniu nadzwyczaj przykrem wykonania operacyi, które należą wprawdzie do zakresu chorób kobiecych, ale przecież przechodzą siły i zdolności „eines ärztlichen Fräuleins“. Prof. Laskowski dostarcza prof. R. dosyć danych, na dowód braku uzdolnienia kobiet-lekarzy, a prof. Dohrn popiera go w powątpiewaniu w możliwość działalności lekarza-kobiety. Wywodom prof. R. przyznała kompletną racyę warszawska „Medycyna“, która radzi wszystkim tym, którzy co do studyów medycznych dla kobiety nie wyrobili sobie własnego zdania — przeczytanie artykułu prof. R. Mamy jednak nadzieję, że ogół społeczeństwa ma już w tej kwestyi zdanie wyrobione i słowa prof. R. nie będą mogły wywrzeć bardzo szkodliwego wpływu.

O ile prof. R. przemawia ze zdumiewającą pewnością siebie i olimpijską powagą, o tyle odpowiedź prof. C. napisana jest z nadzwyczajną godnością, znajomością przedmiotu i bardzo rzadkim we wszelkiego rodzaju polemikach i dyskusyach talentem i delikatnością. Prof. C. znany w świecie naukowym z swoich prac w dziedzinie fizyologii, miał z kobietami-lekarzami stosunków wiele, zna ich działalność tak w Rosyi, jak na Zachodzie i udawadnia przykładami z życia, że kobieta zadaniom swym, jako lekarz gminny, doskonale podołać może, a w razie operacyi trudnej lub niebezpiecznej, albo zrobi tę operacyą, jak każdy lekarz wiejski z dobrym lub złym skutkiem, albo też wyśle pacyentkę do miasta dla porady specyalistów i profesorów, jak się to zresztą oddawna praktykuje wszędzie tam, gdzie kobieta lekarka jest nieznaną. Wobec powag takich, jak prof. Laskowski lub Dohrn, którymi zasłania się w wywodach swoich prof. Rydygier, przytacza prof. C. opinię prof. Gaulego, Erismana, Miecznikowa, którzy opierając się na obserwacyi życiowej, jednogłośnie pracy kobiety-lekarza przyklaskują.

W Krakowie jednak, w tem arcymoralnem i zważającem na czystość obyczajów mieście, powinien chyba wszystkich przekonać argument

prof. C., że niema chyba barbarzyństwa większego nad zmuszanie młodych kobiet do uciekania się w chorobach czysto kobiecych do pomocy lekarza-mężczyzny, barbarzyństwa, które zostałoby usuniętem przez działalność kobiety-lekarki, a wraz z niem tysiączne chroniczne choroby kobiece, będące jedynie wynikiem żenady i wzdrygania się przed zawezwaniem lekarza-mężczyzny.

Zdaje się jednak, że ani mądry spokój prof. C., ani jasność i trafność jego zdania, a nareszcie sama sprawa, dla której walczy — nie zdołają przekonać prof. R. i zwolenników jego teoryi o słuszności żądań kobiecych. Prof. R. pragnie dla kobiety jeno owych zalet, które poeci świata w szyllerowski sposób opiewali, a choć prof. C. zapewnia, że znajdą się poeci, którzy potrafią sławić pracę kobiet i ich dążenie do światła i nauki równie pięknie, jak dotąd opiewali ich zalotność i wdzięki, to prof. R. przecież w zapewnienia te nie wierzy i wykrzykuje z właściwym sobie patosem jeszcze raz i jeszcze głośniej:

— Precz od nas z dziwolągiem kobiety-lekarza! Czyńcie, co każe Pan Bóg i stary matek obyczaj — powiada prof. R. — a będzie dobrze!

Jest więc prof. R. w tej polemice reprezentantem tej części krakowskich profesorów, którzy przeoczając co się dzieje na szerokim świecie, nie mając zrozumienia dla społecznych i ekonomicznych potrzeb kraju, stają jak jeden mąż, aby z całą wytrwałością, z całą energią i uporem bronić kobiecie wstępu na uniwersytet. Niestety tych jest większość! Wprawdzie dr. Stockmann powiada, że racya jest zawsze po stronie mniejszości, ale dla kobiet jest to pociechą tylko bardzo platonicznej natury, pociechą, z której tak długo nie będzie korzyści żadnej, aż szeregi obecnej większości się nie przerzedzą.

Komu jednakowoż od wszystkich kobiet w kraju i zagranicą należy się wyraz serdecznego uznania — to prof. Cybulskiemu, za to, że ujął się za sprawą kobiet i walczył w ich imieniu. Zdanie prof. C. jest pierwszem u nas ex catedra za przypuszczeniem kobiet do studyów lekarskich — jest jedynym prawdziwie poważnym (nie w znaczeniu prof. R.) głosem, za otwarciem kobietom uniwersytetu. Jest to objawem pocieszającym, że mamy przecież w świecie naukowym jednostki, które na sprawę kobiet należycie się zapatrują i należycie ją rozumieją. Gdyby takich jednostek było więcej, sprawa przyjmowania kobiet na uniwersytet wzięłaby całkiem inny obrót. Na razie jednak spełnia się życzenie prof. Rydygiera — wszystko jest tak, jak było, „jak każe Pan Bóg i stary matek obyczaj."

J. Z.

Ze Slązka Polskiego.

Śmierć ks. Damrotha. — Czesław Lubiński. — Wstydzą się, czy się boją? — Jak chowają poetę polskiego na Śląsku. — Bismarkfeier. — Zacna Polka. — Pruski urzędnik z pod Jarocina. — Zebranie tow. polsk.

Złowrogą wieść nam Marzec przyniósł. W Pilchowicach umarł ks. Konstanty Damroth, rodem z Lublińca. Nazwisko to mało jest znane po za granicami Śląska, mimo, że je nosił za życia najznakomitszy syn tej zapadłej dzielnicy naszej Ojczyzny. Kto się chce przekonać, czem był śp. ks. Damroth dla Ślązka i Polski w szerszem znaczeniu tego słowa, ten niechaj przerzuci poezye Czesława Lubińskiego, jeżeli dotąd tego nie uczynił (nakładem „Katolika" w Bytomiu). Lubiński bowiem to pseudonim śp. ks. Damrotha, przyjęty od jego miejsca urodzenia — Lublińca. Daleko mu oczywiście do królów poezyi naszej, daleko nawet do wybitniejszych poetów doby współczesnej — ale on *Ślązak* i pieśni jego świętym protestem rozbrzmiewały tam, gdzie uśpiony duch polski budzi się dopiero z letargu, a wróg wyje nad uchem: Tu nie ma ludu polskiego!

To, czego za życia pieśniarza śląskiego uczynić nie było można, nie chcąc osoby zgasłego na większe jeszcze prześladowania ze strony Niemców narażać, wolno dziś — wolno bryzgnąć im w oczy, że kłamstwem obłudnem jest ich straszak przezwany „wielkopolską agitacyą." Ks. Damroth, to nie „Wielkopolanin" podburzający spokojny i wiernopoddańczy lud śląski, lecz kość z kości Ślązak i Polak, który dopiero jako akademik poprawnie po polsku czytać się nauczył. On nie znał Ślązka bez Polski, jak również nie mógł sobie wyobrazić Polski bez Ślązka.

Lud tu sobie opowiada, że ks. D. patrzał na krzywdy przez Niemców wyrządzane, więc serce poety z żalu pękło i umarł.

Pogrzeb śp. ks. Damrotha odbyty dnia 9go bm., to zbezczeszczenie pamięci Zgasłego. Polak całą duszą, którego ostatniem życzeniem było:

Gdy raz umrę, życzę sobie,
Aby stanął przy mym grobie
Choćby jeden, nawrócony
Słowem mojem; z drugiej strony
Jeden, co za mą przemową
Duszę swą zachował zdrową;
Wkoło ludek nasz serdeczny
Westchnął na mój spokój wieczny;
Dziatek polskich zaś drużyna
Śpiewała: S a l v e r e g i n a!

żegnany był niemiecką przemową i dopiero przy końcu, niby z łaski, odezwano się do ludu polskiego, bardzo licznie zebranego, temi mniej więcej słowy:

„Widzę, że tu przyszli i tacy, co mówią po polsku. A to ładnie, żeście tu przyszli i dziękuję wam. A teraz zmówmy za tego umarłego jedno „Ojcze nasz" i „Zdrowaś Marya.""

Nic mniej — nic więcej!

Urywane słowa jak: wstydzą się, czy się boją?! lub: tak chowają polskiego poetę na Ślązku!... coraz gęściej padały w tłumach żałobnych i nie bez trudu udało się inteligentniejszym jednostkom lud rozżalony odwieść od demonstracyi, na którą się zanosiło nie na żarty.

Lecz cóż się dziwić! Do jakiego stopnia tu wszystko, a więc lud i inteligencya jęczy pod grozą niemieckiego teroryzmu, świadczy wymownie ten fakt charakterystyczny, że w mieście, w którem mieszkam, katolicki ksiądz polskiego pochodzenia, więziony w czasie walki kulturnej z łaski emeryta z Friedrichsruh, figuruje jako członek komitetu na listach zapraszających do udziału w „*Bismarkfeier.*" W sympatyę jego do Bismarka nikt nie uwierzy, a najmniej ci, którym oczy chce mydlić, — boi się, więc słucha komendy.

Za to z pomiędzy prostego ludu mamy takie przykłady jak np., że zamożna lecz prosta chłopka list zapraszający do komitetu dam dla zbierania składek na rzecz Bismarka z wcale energicznym dopiskiem zwróciła, protestując przeciwko posługiwaniu się jej nazwiskiem pod odezwami komitetu. Krok ten zacnej Polki śląskiej dowodzi niezwykłej na tutejsze stosunki odwagi cywilnej, w obec której *ksiądz kuratus*, jako człowiek inteligentny, do niepoznania maleje i niknie.

Nie tylko osoby pojedyńcze, lecz całe towarzystwa katolickie umieją tutaj pogodzić swój katolicyzm z adoracyą Bismarka. Tutejsze niem. katolickie towarzystwo pod kierunkiem księdza proboszcza uchwaliło wziąć gremialnie udział w korowodzie z pochodniami na cześć ekskanclerza. Mniej by to zastanawiało, gdyby nie fakt, że Polak z pod Jarocina rodem, głównie i, można rzec, jedynie do przeprowadzenia tej uchwały się przyczynił. Z wielkiem przejęciem przypominał zebranym, że Bismarkowi urzędnicy bardzo wiele zawdzięczają, więc usuwać się od tak podniosłego obchodu im nie wolno; że on jest urzędnikiem pruskim — jako pisarek w biurze komisyi podatkowej — i tak jak wszyscy tam obecni dobrym poddanym pruskim. Naturalnie, że po tak świetnem uzasadnieniu, wniosek przeszedł znaczną większością. Nadmienić nie zawadzi, że żona tego „polskiego Bismarczyka," znając zaledwie z grubszego język niemiecki woli ten język niemiłosiernie kaleczyć, niż przyznać się, że mówi po polsku.

Smutne te reminiscencye bledną w obec podniosłego wrażenia, z jakiem każdy uczestnik niedzielnego (17. 3.) zebrania Tow. kat. polsk. w Opolu salę opuszczał. Wspomnienie pośmiertne o ks. Damracie wypowiedział red. „Gazety Opolskiej" p. Koraszewski w bardzo długiej i treściwej przemowie.

Widać było, że prelegent mówi o tem, co widział i w czem po większej części sam brał udział, bo wiele tam było szczegółów takich, o których tylko człowiek przestawający ze zgasłym poetą w pewnej zażyłości mógł się dowiedzieć. Wszystko to wypowiedziane było z pewną kwiecistością i wytwornością stylu, tak, że obawiałem się, czy słuchacze, po większej części prości, wszystko zrozumieją. Obawy moje okazały się nieuzasadnione, bo kilku innych mówców z klasy robotniczej i z ludu wiejskiego w przemówieniach swoich tych samych używali krasomówczych zwrotów, poprawnie i czysto; dowodzi to, że księdzu i nauczycielowi nie zniżać się do ludu, lecz lud do swego poziomu podnosić należy, czego na Ślązku niestety nie wszędzie przestrzegają, nawet nie we wszystkich redakcyach.

Pojedyńcze wykłady i przemówienia przeplatano śpiewem solowym i gremialnym, a całość robiła tak miłe i podniosłe wrażenie, że poszedłem tam dotąd zniechęcony deszczem-kapuśniaczkiem i niepowodzeniem przy załatwianiu własnych interesów, a wróciłem wesoły, i ani się nie spostrzegłem jak usta powtarzały co dopiero tam słyszane słowa i melodyę zapalnego mazura.

A że nie ja sam tylko ulegałem tym wrażeniom, widać było na twarzach wszystkich uczestników i ze słów mego towarzysza to wynikało, który umyślnie do Opola przyjechał, aby się przypatrzyć zebraniu i zebrać informacye celem założenia podobnego związku w miasteczku G. Szczęść Boże! starym i wszystkim nowym i przyszłym związkom, żyjącym podobnem życiem, co związek opolski.

Chim.

KRONIKA WIEDEŃSKA

Wiedeń, 25 marca 1895.

(Wiedeńczycy i urodziny Bismarcka. — Interpelacya „Nationalpartei" do ministra Madeyskiego. — Przyjęcie u ministra Bacquehema i u posła Abrahamowicza. — Lewakowski i emigracya chłopów do Brazylii.)

Książę Bismarck nie posiada najlepszej marki między Wiedeńczykami, którzy doskonale pamiętają Königrätz i Sadowę i każdego Niemca z „Cesarstwa" zawsze za obcego uważają z przydomkiem „ein deutscher Bruder." To też z prawdziwą przyjemnością czytano tutaj telegramy i sprawozdania z berlińskiego Reichstagu i przebiegu obrad nad uczczeniem urodzin Bismarcka i wprost cieszono się, że takowe przez posłów zostało odrzucone. Nawet dzienniki z niemiecko-liberalnem odcieniem nie ujmują się za nim tak, jakby powinny. Zdaje się więc, że rola żelaznego kanclerza już odegrana, a nawet cesarz nie potrafi go wskrzesić do odegrania jej *da capo*.

Za to niemiecka Nationalpartei w parlamencie wniosła do ministra oświaty interpelacyę następującej treści: „W ostatnich dniach czytano w dziennikach wiadomość, jakoby niemieccy profesorowie szkół wyższych, którzy zamierzają wziąć udział w uczczeniu 80letnich urodzin Bismarcka, otrzymali ze strony ministerstwa oświaty przestrogę. Przedewszystkiem odnosić się to ma do profesorów wszechnicy w Insbrucku, na których wywierano w tym względzie presyę. Nie potrzeba dodawać, że takie wpływanie jest obrazą uczuć narodowościowych, i uważane być może za podejrzane zachowanie się patryotyczne. Stawia się zatem pytanie: Czy minister wydał takie rozporządzenie, jeżeli tak, to z jakich powodów, i jakiem prawem?" Interpelacyę tę oddano ministrowi Madeyskiemu, który zapewne na najbliższem posiedzeniu parlamentu odpowie.

Tymczasem prowadzi się narady o reformie podatkowej. Niewiele te narady postępują

bo mówcy zwykle przed dość pustą salą opowiadają swoje żale lub żądania. Od czasu do czasu młodoczech lub antysemita jaki narobi trochę hałasu i zahuczy, — zresztą posłowie bawią się w *couloirach* lub siedzą w bufecie, prowadzonym obecnie we własnym zarządzie.

„Dobre jedzenie“ sprawił w ostatnią sobotę minister spraw wewnętrznych Bacquehem w swoich prześlicznych apartamentach przy Wipplingerstrasse. Było to oficyalne przyjęcie, na które ze strony ministra rozesłano więcej jak 500 zaproszeń, z których naturalnie prawie wszystkie uwzględniono! Począwszy od najwyższej arystokracyi rodowej, kleru, urzędników cywilnych i wojskowych, ministrów, posłów z parlamentu i delegatów obcych mocarstw, aż do szefów wszystkich redakcyi i ich reporterów, wszystko to było na przyjęciu, no, i na kolacyi. Gospodarz domu dokładał wszelkich starań, aby goście byli zadowoleni, co mu się też w zupełności udało. Po północy salony się wypróżniły. Spodziewają się tutaj wiele po tym wieczorze.

Papką, czapką i solą, ludzie ludzi niewolą, powtarza poseł Dawid Abrahamowicz, i wydaje u siebie także przyjęcia tygodniowe, na które zaprasza posłów wszystkich odcieni parlamentu austryackiego. Drogo kosztuje go to zapewne, ale ponieważ szanowny poseł znany jest ze swego bystrego patrzenia w przyszłość, maluczko, a wynagrodzi to sobie z procentem.

Poseł Lewakowski bawił dłuższy czas w Galicyi i był w Tarnopolu podczas procesu młodzieży, posądzonej o zdradę stanu i chęć odbudowania Polski, a ostatecznie jednogłośnie uwolnionej. Szanowny poseł badał stosunki chłopów i przyczyny emigracyi tychże do Brazylii i Stanów Zjednoczonych. Za wstawieniem się jego, namiestnictwo galicyjskie postanowiło wydawać paszporta legalne na wyjazd, tym naturalnie, którzy powinność wojskową odbyli i nie są na razie w kolizyi z sądem karnym. Zapewne, że takie wdanie się rządu w sprawę emigracyi pomoże do wyjazdu ginącym z głodu w Galicyi — nie zapobiegnie jednak wcale wyzyskowi agentów emigracyjnych i śmierci z nędzy tam, w Brazylii, gdzie lud nasz w miejsce murzynów przy plantowaniu kawy używają! Wydział krajowy coś także zaczyna myśleć o dowiadywaniu się, jak to tam idzie z tą wędrówką do Ameryki — a dowiaduje się najgorszych rzeczy i ogłasza je w dziennikach, których chłop całe swoje życie... nie widzi, a tem mniej czyta!

Wczoraj na ulicy spotkałem *32* mężczyzn i 11 kobiet młodych z Białki w Galicyi, którzy szli do agentury na Aleestrasse dla odebrania „schifkart“ do Brazylii. Prowadził całe to stado Iskariota, żydek polski. Powiedziałem im, szczęść wam Boże! ale w duszy myślałem o tem marnowaniu czasu przez naszych posłów w Sejmie i Parlamencie, o tem przelewaniu wody w rzeszoto przy rozprawach nad reformą wyborczą i podatkową i o tych obiadach koalicyjnych, gdzie wzajemnie i nieszczerze wołają Niemcy do Polaków: „Kochajme se“, co właściwie ma znaczenie: trzymajmy się razem, bo jak reforma przejdzie — to „bei Philippi sehen wir uns nimmer.“ *)

Xi.

*) Wyrażenie wiedeńskie.

W dzień urodzin ks. Bismarcka *)

Ile tylko spoczywało uśpionych żądz w sławem sercu człowieka współczesnego, on je obudził, powołał do życia i kazał w niem grać rolę naczelną: dawno, jeszcze za heleńskich czasów wyklęte harpie i erynie wydobył, niby nurek genialny, z samego dna wód letyjskich, przyoblekł w purpurę nowoczesnego panowania i narody zmusił do hołdu na rzecz ich, do haraczu, do hekatomby. Nad kołyską jego zbiegły się wszystkie potwory jaskiń czarowniczych, wyły hyeny, syczały gady — ale brakło miłości, cichych powiewów wiosny, szemrania strumieni, śpiewu ptaszat, brakło hosanny natury. Gdy podrósł i potężną spiżową dłonią ujął, niby kleszczami, umysł, serce narodów europejskich — na nieszczęście ludzkości całej nie napotkał żadnego oporu. Cóż znaczy drobny korab ludzkich losów wobec potęgi trąby morskiej, wobec siły orkanu? Ucichło wszystko wokoło, a gdy nie słyszano wśród ryku tryumfu głosów potępienia, zwykłym biegiem słabej myśli człowieczej, widzącej w powodzeniu sprawdzian wartości, uwierzony w nowy kanon, niby w ewangelię. Tego tylko trzeba było! Upojony zwycięstwem chwili, wpił się w organizm myśli i uczuć niemieckich tak głęboko, że umiał wyprzeć z nich na długie i dalekie czasy tę przecudną przędzę marzeń złocistych, którą złożyli tam Goethe i Schiller, Herder i Fichte. Jemu mało było zwycięztw politycznych, mało było, że umiał tyrańskie swoje słowa wcielić w życie, „krwią i żelazem“ spoić rozsiane państwa i polityczne drobiny niemieckie; gdy nie było już ani Szlezwigu, ani Austryi, ani Francyi, rzucił się ku wewnętrznym stosunkom państwa i zaryczał: Ausrotten! Ledwie uporał się z „kulturkampfem“ wynalazł prawa wyjątkowe — dla demokratów, dla Polaków, dla każdego kogo mógł zdusić, bo był słaby, a on, on jaśniał majestatem królewskim oprawcy — narodów. Talleyrand był łotrem, szpiegiem i oszustem, Metternich — nędznikiem, tyranem książąt i ludów, ale w galeryi tych i podobnych im portretów Bismark zajmie stanowisko osobne. Ten człowiek pił krew ludzką, a żył za dni naszych. Pamiętniki Bismarcka! Pisma stołeczne obiegła wiadomość, jakoby pewnemu wydawcy niemieckiemu udało się nabyć „pamiętniki“ Bismarcka za bajeczną sumę pół miliona marek. Pamiętniki Bismarcka! Zestawić te dwa wyrazy, powiedzieć je głośno i spojrzeć tylko, jakie obrazy wywoła przed okiem duszy! Jakież barwy piekielne złożą się na nie, barwy łuny pożarnej, rzezi średniowiecznej, Nie przedrze się przez te grube pokłady krwi ani jeden promień wiosny, ani też oko nie zajdzie mgłą radosnego upojenia. Czyż wreszcie one obejmą, mimo kłamstwo wszelkie, jakie mieścić będą, jedną myśl nową, jedno pragnienie nie wypowiedziane dotychczas, jedną hańbę, którejby nie znały dzieje ludzkości, jedną zbrodnię niebywałą? Spływa mi z pióra jedna parallela historyczna. Dzisiaj umiemy już odczytać napisy królów asyryjskich, umiemy podziwiać ich zasługi, któremi się chełpili, umiemy zajrzeć w głąb tej duszy królewskiej, która na straży swych tronów stawiała krwiożerczego wampira i byków skrzydlatych. Otwórz tylko księgę „Roczników“: „wyszedłem przeciwko wrogom moim — woła Salamanacar — zamkniętym w mieście, ściśniętem pierścieniem żelaznym oblężenia, wiele tysięcy z ich rycerstwa ściąłem przed bramą miasta, a gdy spotkaliśmy się w polu, wyrżnąłem 20 tysięcy z Damaszku, 100 tysięcy z Ir Kanatu, 10 tys. z Sizonu; a pomocą był mi Asur, mój bóg, który spuścił na wroga strach śmiertelny i rzucił go do nóg moich“; albo na innej stronnicy czytamy wyznanie Piglat-Pilecara: „...zająłem jego stolicę, uczyniłem ją na podobieństwo pustyni, spaliłem w ogniu; potem rzuciłem się na inne miasta, które zburzyłem, zrównałem z ziemią czarną, spopieliłem i wiatr uniósł ich potęgę niby piasek pustyni — ale Asur, „bóg mój, — jedyny, którego się boję“†), był mi zawsze gwiazdą, która prowadziła mnie do szczęścia, a wrogów moich wiodła na manowce zniszczenia...“

Czyż nie to samo, tylko że pisane tak dawno, że dziś, gdy to czytamy, wydaje nam się czemś dziwnem, niemożliwem, nieprawdopodobnem. I to jednak wraca nie w pieśni, ale w życiu. Jaką pozycyę wypełnił Bismark w katalogu grzechów narodowych niemieckich, tego ani obliczyć dziś nawet nie sposób. Gdyby nie on, nigdyby apostolstwo Nietzschego nie przyjęło się tak bujnie na glebie germańskiej. Tylko pychą zatruty organizm zdolny był i przygotowany do wchłaniania w siebie całego jadu, jaki zawiera ta najnowsza ewangelia, do indywidualizmu samolubstwa i bezlitości. Ojcem duchowym Nietzschego nie jest, bo ten pisać i czuć mógł samodzielnie, ale do ojców chrzestnych nietzscheanizmu mimo cały protest wyznawców zaliczyć musimo i żelaznego księcia. On umiał uczonych, niby Homerowa wróżka, przemieniać na potwory. Umiał tych, którzy go nienawidzili — jak Dahn — rozkochać w sobie, nauczył ich wypierać się tego, w co dawniej wierzyli i obwołać Bismarka nietylko pierwszym z mężów stanu, ale i pierwszym z ludzi. Dzisiaj Haeckel prowadzi w jego rydwanie młodzież jenajską, Dahn opowiada w swych obecnie wydawanych „Wspomnieniach“ (tom III) o wizycie w Friedrichsruh, o rozmowie z kanclerzem, jak o objawieniu niebieskiem i objeżdża Niemcy, głosząc tryumf „krwi i żelaza“.

Pamiętniki Bismarka! Gdy wyjdą — niechaj je oprawią w symbole uczuć i natchnień autora ich — w „szkarłat“ szatański, — niechaj zamkną na „żelazne“ klamry i złożą do muzeum pamiątek tortury. Tam jest dla nich miejsce właściwe: obok narzędzi męczarni, obok wspomnień Torquemady — niechaj spoczną i niechaj ludzkość o nich zapomni. Ale czyż tak prędko zapomni? Kto przewidzieć to potrafi? W cichości myśli wyznać się jednak odważymy, że duch jego żyć będzie długo jeszcze po gajach germańskich, że przez lata długie po śmierci jego wierzyć będą Niemcy, iż spoczywa kędyś w zamku spiżowym, niby Fryderyk Barbarosa — i niby trupa mitycznego króla asyryjskiego obwozić go będą ku zbudowaniu ziomków, ku zgorszeniu, ku hańbie ucywilizowanej ludzkości europejskiej.

Zen. Por.

*) Artykuł powyższy stanowi wstęp do większej pracy o ks Bismarcku, która niebawem ukaże się w formacie książkowym.

†) „Wir furchten u n s e r n Gott, sonst Niemanden in der Welt. (Pamiętne słowa Bismarcka.)

W sprawie „Czytelni Ludowych“.

Z Kościana odbieramy z prośbą o umieszczenie pismo następujące:

„W nrze 11tym „Przeglądu“ omówione jest sprawozdanie zarządu Towarzystwa Czytelni Ludowych i niewesołe cyfry dochodów jego. Omówienie to dochodzi do konkluzyi, że w maszyneryi organizacyjnej nie wszystko musi funkcyonować prawidłowo, że nie wszyscy urzędnicy Towarzystwa obowiązki swe gorliwie sprawują. Tak jest, zdaje się, rzeczywiście; i urzędników, a raczej kolektorów jest za mało. — to błąd organizacyi — i ci, którzy są, nie dość gorliwie sprawami Towarzystwa się zajmują, to błąd urzędników.

Dla uzasadnienia tego twierdzenia niech następujący posłuży przykład.

Piszący to już od dwóch lat zamieszkuje jedno z mniejszych miast powiatowych. Pomimo tego nietylko nikt jeszcze do niego się nie zgłosił i do składki nie zawezwał, ale mimo licznych zapytań nie udało mu się dowiedzieć, kto jest mężem zaufania Towarzystwa, na czyje ręce składki oddawać należy. Widoczna ztąd, że kolektora na miejscu nie ma, boć ostatecznie mimo wszelkiej otaczającej go tajemnicy wywiedzieć by o nim się można.; dalej, że jeżeli kolektor jaki egzystuje, to chyba jeden tylko na cały powiat, a ten zamało sprawą się zajmuje.

Jeżeli wszyscy mężowie zaufania tak rzecz traktują, to dziwić się nie można, że Towarzystwo wiecznie z biedą walczy. Kolektorzy powinni być, co najmniej, w każdem mieście i w każdej parafii, powinni dalej składkujących werbować, a nie czekać spokojnie, aż się kto o nich dowie i sam do nich zgłosi.

Przy prawidłowej organizacyi i prawidłowem funkcyonowaniu wszystkich organów, możnaby po kilkakroć więcej zebrać, aniżeli dzisiaj się zbiera, i potrzeby Towarzystwa zadowolnić i zabezpieczyć.“

NA WYŁOMIE.

Spełnione przeczucia. — Teatr a prasa. — Jak się w Poznaniu wystawia sztuki?)

Gdy *Helena Modrzejewska* stąpała po deskach sceny poznańskiej, biorąc bez pardonu „w jasyr wszystkie *corda*,“ jak mawiał ś. p. Zagłoba, ostrzegałem dyrekcyę teatru przed gwałtownem zakręcaniem śruby finansowej, dublującej w fałszywej spekulacyi normalne ceny biletów. Jest siła magnetyczna w geniuszu wielkiej artystki, której nawet lodowa obojętność i bezduszne skępstwo oprzeć się nie zdoła, —

więc nie dziw, że chłodne i ubogie społeczeństwo nasze, mimo Sycylijskiego podatku pobieranego przez dyrekcyę teatru, szło się ukorzyć przed tem wielkiem słońcem sceny narodowej, które chyli się ku zachodowi, wielkie, piękne, pełne purpury i promiennych blasków. Może ono już po raz ostatni pali się w szkarłatach — za chwilę zgaśnie na zawsze. Więc płacił lud ubogi haracz nałożony i jak Gwebr modlił się do słońca.

Dyrekcya zacierała ręce, zwożąc obfite żniwo do stodoły, a chociaż podnosiły się głosy, że po sutych zapustach teatralnych nastąpi post długi i przykry, kierownik sceny pocieszał się starem przysłowiem „Jakoś to będzie.“ Ale „jakoś to będzie“ zawiodło i przeczucia moje spełniły się niestety.

Z chwilą wyjazdu Heleny Modrzejewskiej zaczęła się pustka przeraźliwa i pustka ta odtąd chronicznie nęka teatr poznański. Cztery czy pięć razy biedny suchotnik rozpromienił się nieco zdrowszym rumieńcem i na tuszy przybrał, ale wnet bladł znowu, mizerniał i chudł rozpaczliwie. Aż litość bierze w tych pustych przybytkach. Dyrektor, czterech recenzentów, 10 muzykantów, policyant z żoną lub bez żony, dwudziestu stałych przyjaciół teatru lub przejezdnych gości, — i koniec. Nikt więcej. Na te suchoty nie ma snać lekarstwa pan Dobrowolski, bo ani sympatyczna kapela „Sokołów“ ofiarująca usługi swoje jednemu z beneficyantów, ani występ pani Adolfiny Zimajer, ani nawet „ślubny“ benefis pana Czerniaka, który, mówiąc słowami dzienników poznańskich „na wiosnę gniazdko sobie ściele“, nie przysporzyły grosza teatralnej kasie i pierza „dla gniazdka“. Pan dyrektor zrozumie może teraz, że to systematyczne lekceważenie wszelkich rad, życzeń i wskazówek prasy, — to małoduszne „na złość“ kolegom po piórze, rozbrzmiewające bezustannie w dyrekcyjnym gabinecie, sprowadzić może fatalną katastrofę, która się zakończy śmiercią suchotnika.

Praktycznego zmysłu w budzeniu interesu publiczności dla sztuki nie ujawniło nigdy kierownictwo sceny, a w ostatnim czasie zapanowała zupełna senność i cisza. Dyrekcye innych, czy to polskich, czy niemieckich, czy francuzkich teatrów starają się między publicznością a sceną utrzymać kontakt bezustanny. W warszawskich Kuryerach, w krakowskim „Czasie“, w lwowskich dziennikach — nie mówiąc już o Berlinie i Paryżu — pojawiają się bezustannie wiadomości o obsadzie ról, zamówionych sztukach, próbach, kostyumach, dekoracyach i t. p. Skarżono się nawet niedawno z pewną słusznością na przesadę w tem figarowem reklamowaniu teatru i na wybujałość reporterskich namiętności, wykradających najdrastyczniejsze zakulisowe tajniki z biur, *parloir'ów* i ubieralni teatralnych, — my jednak w Poznaniu żalić się raczej musimy na zupełne zerwanie łączników między teatrem a prasą i publicznością. Małomiejska i uboga scena darzyć oczywiście nie może społeczeństwa tą powodzią szczegółów sensacyjnych, któremi dyrekcye innych teatrów zasilają dzienniki, ale i tu znalazłby kierownik, obdarzony odrobiną zmysłu praktycznego, dość materyału dla rozbudzenia uśpionego życia, interesu i przywiązania do sceny. Zręczny kupiec zna tysiączne sposoby reklamy, a chociaż nie pragnę bynajmniej, aby teatr traktowano na wzór „Aragosy-Hosenträger“ lub „Wachsmut's Hühneraugenringe“, to jednak liczę się z słabościami ludzkiemi i wiem że bez świecidełek i rakiet alarmujących obojętność płaszcz swój rozpościera nad publicznością. Cóż? u nas dyrekcya niechętnem spogląda okiem, gdy nowy aktor oddaje w redakcyach poznańskich bilet wizytowy. Artyście znać wolno jedynie „Dziennik Poznański“ — organ teatralny, — a na powitanie otrzymuje od monarchy swego upomnienie, aby się „nie wałęsał po redaktorach.“ Rozumiem dobrze intencye dyrekcyi. Tam, gdzie wewnętrzna gospodarka lękać się musi światła dziennego, tam między gronem artystów a prasą buduje się mur graniczny, by nikt nie zdradził tajemnic i słowem krytyki sprawiedliwej nie zagasił blasków fałszywych. Ale jakaż ztąd korzyść dla sceny? Prasa się zniechęca i nie zasilana informacyami przez dyrekcyą a nadto krępowana w stosunkach z artystami i lekceważona bezustannie w życzeniach swoich, patrzy na teatr okiem chłodnem i obojętnem. Za czasów dyrekcyi Doroszyńskiego innym był stosunek sceny do publiczności i prasy. Kochano teatr, interesowano się artystami, reklamowano zręcznie każdą nowość, bo kierownik liczył się z „siódmą potęgą świata“ i okazywał jej na każdem miejscu przyjaźń i szacunek.

Ta chroniczna wada rządów teatralnych w połączeniu z wycieńczeniem finansowem, spowodowanem występami pani Modrzejewskiej, jest główną przyczyną obecnej pustki, wiejącej z lóż, krzeseł i wyżyn olimpijskich. Człowiek siedzi w tym gmachu, słucha fałszywej muzyki i doznaje wrażenia przygnębiającego bankructwa. Próżnia, chłód, a w końcu kilka oklasków jak na pośmiewisko. Ludzie wstydzą się formalnie braw swoich w tej opustoszałej „świątyni.“

Lękam się że tej mroźnej obojętności nie rozproszy nawet sobotnia premiera p. *Sarneckiego*, — lękam się jeszcze więcej, że „*Harde dusze*“ ukażą się na deskach w scenicznem negliżu, który jest ulubionym strojem teatru naszego. Musiałby chyba czarodziejem być nasz reżyser teatralny, gdyby poprawną tualetę pięcioaktowego utworu w czterech dniach zdołał wykończyć. Role rozdano we *wtorek* wieczorem, pierwsza próba *bez manuskryptu w ręku* odbyła się *w piątek* rano, a *w sobotę* „idzie premiera.“ Cóż na to powie autor krakowski, gdy w Jagiellońskim grodzie usłyszy wieść zadziwiającą o niezwykłym pietyźmie dyrekcyi poznańskiej dla utworów rodzimych pisarzy? Mamy w gronie artystów naszych cenny materyał *ensemblowy* i kilka wybitnych talentów, lecz w takich warunkach teatr staje się nieraz jatką, — sztuki i autorzy ofiarą.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

„Świata“ zeszyt 6 zwraca na siebie uwagę bardzo ładną winietą tytułową w kolorach przez Romana Kochanowskiego oraz ośmiu rysunkami Piotra Stachiewicza, nader pięknie odwzorującemi kilka scen i postaci z dramatu „Harde dusze“ Elizy Orzeszkowej i Zygmunta Sarneckiego, cieszącego się powodzeniem na scenie krakowskiej. Dział literacki, jak zawsze, cenny i bogaty, a wyróżnić w nim należy piękne opowiaadanie noszące tytuł „Andrzej Stanisławowicz“ i cykl poezyi „Srebrny Dzwon“ przez Ludwika Szczepańskiego.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Odrzucenie w parlamencie niemieckim wniosku o uczczenie ks. Bismarcka i telegram cesarski, potępiający uchwałę parlamentu, budzą w całej prasie europejskiej najżywsze zainteresowanie. Stronnictwo socyalistyczne zamierza wnieść interpelacyę w sprawie depeszy cesarskiej. — Projekt hr. Kanitza odrzuciła rada stanu 39 głosami przeciw 4 — Niemieckim ambasadorem w Petersburgu mianowany został ks Radolin. — W Belgii wzrastają bezustannie zaburzenia w okregach przemysłowych. Rząd powołał 7000 ludzi do szeregów, aby w samym zarodku zgnieść zakusy rewolucyjne. — W pruskiej izbie panów podało 30 członków izby, pomiędzy nimi także ks. Antoni Radziwiłł, wniosek o umieszczenie marmurowego biustu Bismarcka na sali posiedzeń.

Teatr i muzyka. W ubiegłą sobotę wznowiono na scenie naszej krotochwilę Abrahamowicza i Ruszkowskiego p. t. „Nihiliści“. Strona pamięciowa pozostawiała wiele do życzenia, a tempo powolne obniżało wrażenie utworu. Z artystów występujących zasługują na uznanie pp. Łaski, Trapszo, Skirmunt i Knapczyński, z artystek pp. Trapszowa i Królikowska. — Do repertuaru warszawskiego Teatru Rozmaitości powraca sztuka Feuilleta „Dalila“ z p. Ludową w roli tytułowej. — Gabryela Zapolska wystąpiła w Maeterlincka „Interieur“ w teatrze l'Oeuvre, a wystąpi w sztuce Caraguela „Dym przed płomieniem“ w Théatre libre. — W teatrze krakowskim ma być wystawioną bajka czarodziejska Z. Sarneckiego p. t. „Szklana góra“ z muzyką Gala. — Nagrodzoną na konkursie sztukę Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny“ wystawił w czwartek ubiegły teatr hr. Skarbka we Lwowie — Władysław Rabski pracuje nad nowym dramatem p. t. „Ruiny“. — Reżyser teatrów warszawskich, p Szymanowski powrócił już do zdrowia. Dyrektor Karandiejew bawi jeszcze w Berlinie.

Znany literat poznański p. Kaźmierz Puffke wygłosi we wtorek o godz. 6 w hotelu „Victoria“ odczyt „o kobiecie w dramacie współczesnym“.

Ruch pocztowy w Anglii dochodzi do imponujących rozmiarów jak wykazują dane statystyczne, ogłoszone niedawno w Londynie. W ciągu roku ubiegłego wyekspedyowano w zjednoczonem królestwie 2,789,500,000 listów, kart pocztowych, książek lub broszur, cyrkularzy, prób i dzienników, — co wynosi nieco więcej niż 72 przesyłek na każdego mieszkańca Wielkiej Brytanii i Irlandyi. W porównaniu z rokiem poprzednim cyfra powyżej wymieniona wykazuje powiększenie o 24 proc. Uwzględniając ten ruch olbrzymi, angielski urząd pocztowy otworzył 391 nowych biur pocztowych i 917 nowych skrzynek do listów.

Polki za granicą. W uniwersytecie genewskim wydział przyrodniczy ukończyły w r. z. panny: Marya Olszakowska i Julia Mierzyńska ze stopniem bakalarek, obydwie z odznaczeniem (avec approbation complète).

Wyrok śmierci na Pana Jezusa. W kaplicy w m. Caserta znajduje się płyta spiżowa, na której w języku hebrajskim wyryty jest wyrok śmierci na p. Jezusa. Płytę tę znaleziono w mieście Azuila, w byłem królestwie neapolitańskim, około r. 1280 przy sposobności poszukiwań archeologicznych. Przechowywano ją długi czas w zakrystji klasztoru Kartuzów w bliskości Neapolu, aż nareszcie przechowaną w hebanowej skrzynce, umieszczono ją w kaplicy w Caserta. Za czasów Napoleona I. miano ją wywieść do Francji, a tylko okoliczność, że Kartuzi nie małe ponieśli ofiary dla wojska francuskiego, zaważyła na szali i prośbie Kartuzów pozostawienia im nadal płyty uczyniono zadość. Francuska komisya artystyczna badała tę płytę szczegółowo, sporządziła dokładne tłomaczenie napisu w języku francuskim i autentyczności jej nie podała w najmnisjszą wątpliwość. Według tego tłomaczenia wyrok ten brzmi, jak następuje:

„Wyrok, wydany przez Poncjusza Piłata, namiestnika Niższej Galilei, opiewający, że Jezus z Nazaretu ma ponieść śmierć na krzyżu. W siedmnastym roku panowania cesarza Tyberjusza i w dwudziestym piątym dniu miesiąca marca w świętem mieście Jeruzalem, gdy Annasz i Kaifasz byli kapłanem i arcykapłanem Boga: Poncyusz Piłat, namiestnik Galilei, zajmując prezydyalne krzesło pretora, skazuje Jezusa z Nazaretu na śmierć na krzyżu pomiędzy dwoma łotrami, ponieważ wielkie i wiarogodne świadectwa ludu opiewają: 1. Jezus jest zwodzicielem; 2. Jezus jest podżegaczem; 3. Jezus jest wrogiem prawa; 4. mianuje się fałszywie synem Boga; 5. mianuje się fałszywie królem Izraela; 6. wszedł do świątyni, a za nim postępował tłum, niosący palmy w rękach. Rozkazuję pierwszemu centurjonowi Kwirylusowi Korneliuszowi zaprowadzić go na miejsce stracenia. Zakazuję wszystkim bogatym osobom przeszkadzać w wykonaniu wyroku śmierci na Jezusie. Świadkowie, którzy podpisali wyrok śmierci na Jezusa są: 1. Daniel Kobani, faryzeusz. 2 Jan Zerbatel. 3. Rafael Robani. 4. Capet, uczony w piśmie.“

Zmarli:

Alfons Szczerbiński, artysta, muzyk i kompozytor zm. 24 b. m. w Sremie. Zmarły ogłosił kilka utworów na fortepian i pozostawił w tece kilka cennych kompozycyi.

Juliusz ks. Noailles, pisarz francuzki, zm. 7 marca w Paryżu.

Kamila Collett, przewodniczka ruchu kobiecego w Norwegii. zm. 7 marca w Chrystyanii.

BIBLIOGRAFJA.

Ostoja. Wychowanka. Powieść. Petersburg. 1895 r.

Jan Kaźmierz Zieliński. Ofiary. Powieść Lwów. 1895.

Jan Kaźmierz Zieliński. Szkice. Lwow. 1895.

Maël Piotr. Żona artysty. Powieść. Przekład z francuzkiego. Cena 1,00 Mr.

Sales Piotr. Pomszczona cześć. Powieść. Przekład. Cena 2,00 Mr.

Wacław Rudnica Daniszewski. Uruchomienie własności ziemskiej i reforma kredytu rolnego ze stanowiska ekonomii społecznej. Dwa tomy. Kraków, G. Gebethner i Sp.

Dębicki ksiądz Władysław Michał. Wielkie bankructwo umysłowe. Rzecz o nowoczesnym skrajnym sceptycyzmie naukowo-filozoficznym, z dodaniem studyum: Koniec wieku pod względem umysłowym. Charakterystyka znamion szczególnych. Cena 2,50 mr.

Gebhart Emil. Pod tyarą Papieża (1075—1085). Romans. Przekład z francuzkiego. Cena 1 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Mal. O adres Gabryeli Zapolskiej racz się pani poinformować w redakcyi „Przeglądu Tygodniowego“, Warszawa ul. Czysta nr. 4.

Omega. Wiersza „Do poetów“ zamieścić nie możemy, lubo talentu autorowi nie odmawiamy. Forma pozostawia wiele do życzenia.

K. **w P**. Opinię naszą w tej sprawie wypowiedzieliśmy jasno i wyraźnie. Konsekwencye praktyczne objawią się na zebraniu, którego oczekujemy z niecierpliwością.

*** O ile nam wiadomo, nikt dotychczas „Małego Eyolfa“ na język polski nie przełożył. Radzimy się jednak pospieszyć.

Od Administracyi.

Prosimy uprzejmie, aby ktokolwiek z czytelników naszych raczył nam odstąpić Nr. 7 „Przegl. Pozn.“ Należytość zwrócimy odwrotną pocztą.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Ludwik Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 14. Poznań, Niedziela 7go Kwietnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Nareszcie!

Nie minęły bez echa artykuły nasze w sprawie „ustawy przewrotowej“. Myślące społeczeństwo obudziło się z odrętwienia, i w ślad za nami wypowiedziały „Goniec“, „Orędownik“ i „Postęp“ swoje „*Caveant consules*“. Milczą tylko wielkie organy: „Dziennik“ i „Kuryer Pozn.“: — milczy stronnictwo „ładu i porządku“, upatrując dojrzałość obywatelską w sennem „*laisser faire*“, w uznaniu nieomylności „Koła polskiego“ i kwietyźmie ostrożnym. Rzecz dziwna, zaiste! W świętomarcińskich redakcyach mówią o Friedrichsruh, o Afryce, o Chinach i Hiszpanii, ale gdy na własnej ziemi zjawia się widmo reakcyi i w organizm narodowy wpija się boleśnie, — „ład i porządek“ chowa głowę w piasek, nie widzi upiorów, nie słyszy dzwonu, co bije na alarm. Milczy oczywiście również na komendę zakulisowych sterników komitet wyborczy miasta Poznania. Nie poruszamy tu kwestyi złożenia urzędów, nie krytykujemy beztaktu urągającego prawidłom życia politycznego, nie rozwodzimy żalów nad korporacyą wyborczą, która przed 5 miesiącami złożyła mandaty a dziś jeszcze trzyma je uporczywie, lękając się nowych ogłosić wyborów, — lecz wobec groźnego widma idącego ku nam z Berlina, przypominamy polskim komitetom całego zaboru jeden stale zaniedbywany obowiązek. Według naszej opinii działalność zaszczyconych zaufaniem ogółu komitetów nie ogranicza się na zadaniach administracyjnych, nie streszcza się w rozdzielaniu kartek agitacyjnych, w układaniu list kandydatów, w zbieraniu funduszów wyborczych i w grzmiącym okrzyku: „Obywatele! Do urny wyborczej!“ — lecz działalność ta zawierać powinna kontrolę palących spraw politycznych i zasięganie opinii społeczeństwa w spornych kwestyach życia publicznego. Im więcej zebrań, im więcej dyskusyi, tem bujniej rozkwita dojrzałość polityczna narodu, tem sumienniej posłowie nasi w sejmie i parlamencie liczą się z szeroką rzeszą wyborców. Jako wzór godny naśladowania świecą nam komitety niemieckie. Czy projekt wojskowy, czy reforma podatkowa, czy wniosek Kanitza, czy ustawa przewrotowa, — zawsze tam pobudka komitetów odzywa się głośno, a za nią głos ludu, jego rezolucye i postulaty. U nas cisza. Zaledwie raz na lat kilka zjedzie poseł z sprawozdaniem swojem, — po za tem sen i milczenie.

Wobec tego dziwić się nie można, że pojawiła się w pewnych kołach społeczeństwa myśl, aby wbrew utartym zwyczajom zwołać bez sankcyi komitetu, pod kierunkiem osób zaufanych zebranie publiczne w sprawie ustawy przewrotowej i naszego stanowiska do reakcyjnych zakusów rządu niemieckiego. Ostatecznie jednak postanowiono nie zrywać jeszcze z tradycyą i zebrawszy przepisaną ustawami liczbę podpisów, wystósowano do komitetu żądanie, aby bezwłocznie zaprosił wyborców na walną naradę w sprawie niebezpiecznego projektu i złożył definitywnie mandaty swoje w ręce nowego komitetu. Nie wątpimy, że na tej drodze *przymusowej* doczekamy się wreszcie naprawy mętnych stosunków poznańskich i rezolucyi, służącej Kołu polskiemu za dyrektywę w sprawie „ustawy przewrotowej“. Wyrażamy również nadzieję, że nasi zwolennicy polityczni na prowincyi, postarają się za przykładem Poznania o zamanifestowanie publiczne stanowiska swego w sprawie rządowego zamachu na swobody obywatelskie, a chociaż Koło polskie lubi paraliżować rezolucye wyborców swoich stereotypową piosenką, że z daleka sądzić nie można o „polityce berlińskiej“, to w tym wypadku, gdzie wstecznictwo groźne odsłania oblicze i wyciąga ręce, aby zdusić wolność, — żadne „targi zakulisowe“, żadne obietnice ułudne, żadne konstelacye frakcyjne w postanowieniach naszych zachwiać nas nie mogą. Są pewne sprawy, któremi handlu prowadzić nie wolno, są pewne projekty, w których żadne uboczne względy roli grać nie powinny, są pewne sytuacye, których rozwiązanie nie jest monopolem ludzi czerpiących informacye swoje „u samego źródła“. Tu wszystkie względy ustąpić muszą, — ustąpić powinny tembardziej, że nadzieje względów tronowych w dym się rozwiały, a doświadczenie mówi społeczeństwu o bezpłodności zakulisowych kompromisów i — „obiecankach-cacankach“.



Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Gazeta Toruńska pisze w Nr. 72.:

„Honor każdej jednostki w państwie cieszy się opieką prawa a więc nie wolno lżyć nawet największego prostaka ani biedaka. Obrazę podrzędnych urzędniczków przedstawiają prokuratorowie jako niesłychaną zbrodnię a sąd karze ją bardzo ostro. Karaną jest także każda obraza, wymierzona przeciw zbiorowym władzom i korporacyom. Prokurator wkracza jednakże tylko na wniosek obrażonych.

Od soboty liczne pisma niemieckie w każdym numerze obrażają parlament niemiecki w obydny sposób. Ciekawi jesteśmy, ilu prokuratorów zgłosi się do parlamentu o upoważnienie do ścigania winnych redaktorów. Jesteśmy pewni, że reprezentacya narodu nie mniejszą się będzie cieszyła opieką, niż honor stróżów nocnych i innych najniższych kółek w machinie biurokratycznej“.

Ta pewność *Gazety Toruńskiej* wydaje nam się mocno podejrzaną w obec prądów antikonstytucyjnych, wiejących obecnie w górnych sferach. Wie o nich również dziennik powyższy, bo w Nr. 75 tak pisze:

„Po znanym telegramie cesarskim do księcia Bismarcka wyraziliśmy obawę, że niektóre stronnictwa przeć będą do naruszenia konstytucyi cesarstwa. Obawa nasza niestety spełniła się rychło. Oto w pruskiej Izbie panów wystąpił hr. Mirbach i powiedział między innemi, co następuje:

„We wszystkich (???) obwodach wiejskich a także w wielu innych powitanoby to z wielką radością, gdyby sprzymierzeni monarchowie zdecydowali się powołać do życia nowy parlament na podstawie nowej ustawy wyborczej i to niezwłocznie.“

Gdyby p. hrabia z podobnem wezwaniem wystąpił nie w ciele ustawodawczem tylko na publicznem zebraniu lub w gazecie, podlegałby na mocy § 85 kodeksu karnego karze cuchthauzu lub fortecy aż do lat dziesięciu. Wzywa bowiem do zdrady stanu w myśl § 81. ustępu 2. k. k., za który to czyn grozi kara dożywotniego cuchthauzu lub fortecy.

Naszem zdaniem nie może być mowy o tem, żeby parlament kiedy uchwalił zniesienie powszechnego głosowania, bo nie tylko lud do niego przywiązany lecz także sfery inteligentne nie chętnieby się zdały na łaskę i nie łaskę kapitału. Gdyby zaś chciano gwałtem obalić konstytucyę to wszyscy uczciwi obywatele — bez względu na stronnictwa — bronić jej będą do ostatniej kropli krwi i do ostatniego tchnienia.“

Gazeta Gdańska donosi w Nr. 39:

„Niejaki p. M. Krahn z Kilp zanosi w ogłoszeniu „Geselligera“ z dnia 26 bm. błagalne prośby do wszystkich czcicieli bismarkowskich mieszkających na Powiślu, ażeby w przeddzień urodzin „warcińskiego pustelnika“ — słuchajcie! — zapalić „Freudenfeuery“ nad brzegami Wisły od rosyjskiej granicy począwszy aż do Gdańska. Przekonany jest zarazem, że na tak małe ofiary zdobędzie się zamieszkała ludność nad Wisłą.

Jeśli bismarczycy mają pełne worki pieniędzy, mogą sobie ognie palić nad Wisłą. Wisła nasza cierpliwa i przez to ani mniej ani więcej „urdeutsch“ nie będzie, jak nigdy nią nie była. Zresztą palące się beczki od smoły mogą się przyczynić do stajania nieco lodu na Wiśle, przez co polska Wisła prędzej wyzwoli się z okowów.... „Wisło moja, Wisło stara, co tak smutnie płyniesz!....“

Orędownik w cyklu artykułów p. t. „Po szlachcie chłop polski“ takie wypowiada poglądy:

„Gdyby się miały ziścić życzenia p. Tiedemanna, co nie daj Boże, to pewną jest rzeczą, że nasi drobni posiedziciele ziemscy tak samo jak szlachta sprzedawaliby gospodarstwa wiejskie na Kolonizacyą. Chłopi polscy nie byliby lepsi od szlachty i pod naciskiem biedy i konieczności sprzedawaliby „świętą ziemię polską“ za pruskie srebrniki równie jak szlachta. Pod tym względem nie ma się wcale co łudzić.

Za to pozycya gospodarzy wiejskich jest daleko mocniejsza i obronniejsza od pozycyi szlachty na wsi. Szlachta nie znała się w części na gospodarowaniu i nie pilnowała gospodarstwa. Chłop polski — nawet podług świadectwa p. Tiedemanna — zna się dziś dobrze na warsztacie rolnym, pilnuje gospodarstwa, a pod względem trzeźwości, pracowitości, inteligencyi stoi na równi z chłopem niemieckim. Pan Tiedemann z całą otwartością wypowiedział w sejmie, że właśnie przez tę pracowitość i inteligencyę gospodarz polski rugujе dziś gospodarza niemieckiego z jego siedziby; gospodarz niemiecki ciągnie w głąb Niemiec, a gospodarz polski zostaje na miejscu. To samo widzimy u rzemieślnika, a jeszcze więcej u robotnika polskiego, który także wypiera robotnika niemieckiego.

Pozycya chłopa polskiego jest więc bez porównania korzystniejsza od pozycyi szlachty naszej i teraz chodziłoby właśnie o to, żebyśmy jako społeczeństwo prowadzili mądrą politykę domową, żebyśmy się nie dawali zwodzić złudzeniom polityki szlacheckiej, która wszystkie stosunki naszego życia opanowała i przez to osłabia w szerokich naszych warstwach średnich zdolność obrony i ognisk domowych i całego społeczeństwa.“

Dalej zaś tak się wyraża *Orędownik* z swoją zwykłą, często zdrową, ale częściej j e d n o s t r o n n ą trzeźwością:

„Doświadczenie z polityką szlachecką uczy nas: że nie walka o zdobycie przynależnych nam praw narodowych, ale walka o byt materyalny a w konsekwencyi o byt socyalny narodowy — powinna stać na pierwszym punkcie polskiej polityki narodowej w zaborze pruskim. To brzmi wprawdzie troszkę pospoliciej, wcale nie idealnie, jak wzniosłe hasła polityki szlacheckiej, ale za to daje zupełnie inną rękojmię zabezpieczenia ideałów narodowych!

Stojąc mocno materyalnie i socyalnie — wyraźnie powtarzamy: socyalnie — możemy się nawet obejść bez praw zagwarantowanych w traktatach i bez równouprawnienia należącego nam się z konstytucyi. To brzmi jeszcze pospoliciej, wcale nie idealnie, to brzmi nawet coś jak „zdrada“ ideałów narodowych. Co to jednak szkodzi, kiedy społeczeństwo nasze przy wzmocnieniu się materyalnem i socyalnem — tem samem będzie miało zabezpieczony byt narodowy, a z nim i ideały narodowe!

Postawienie w programie naszej polityki narodowej walki z rządem o prawa narodowe w tyle po za walką o byt materyalny i socyalny, to wcale nie zrzeczenie się praw narodowych, to nie „zdrada narodowych ideałów“, to nie „odstępstwo“ od idei narodowej, — to tylko zmiana taktyki, to tylko obrachunek polityczny:

żeby zabezpieczyć sobie istnienie socyalne i przez to zyskać podstawę do rozpięcia na niej ideałów narodowych;

żeby ideały narodowe żyły w nas, z łaski naszej, wbrew systemowi pruskiemu.

Tak trzeba nam ustawić naszą polską politykę narodową, a wtedy pójdziemy do walki przynajmniej przygotowani, w jakimś rozsądnym szyku, a nie tak na oślep, jak nas dotąd pędzi, jakby na rzeź, tradycyjna polityka szlachecka.

Organa szlacheckie dziś jeszcze podnoszą hałaśliwą wrzawę o lada kłak polityczny, na który nie warto okiem rzucić, a my wszyscy unosimy się nad tem. Skutki tego pokazują się dość często wśród tych kół warstw średnich, które żywcem przejmują w siebie pojęcia szlacheckie o naszych stosunkach, nawet wtedy, kiedy szumnie przeciw tym pojęciom po swojemu występują. Tym panom, mianowicie z stanu mieszczańskiego, lada frazes starczy, by w świętem uniesieniu deklamować o obronie ideałów narodowych, i nikt z nich — przy wielkich pretensyach do wpływów publicznych, — nie czuje nawet potrzeby, by sobie zdać sumienną sprawę z patryotycznych frazesów. „Żeby pokazać!“ — „szponem wrogowi!“ — i jak tam jeszcze te hasła brzmią, — powtarzają dęby dębom, bukom buki i to głównie w kołach ludzi z pretensyą do wpływów publicznych.“

Pod nagłówkiem „I to miałby być Polak!“ tak pisze *Gazeta Grudziądzka* w Nr. 40:

W pruskiej izbie panów stawiło 30 członków, a między nimi książę Antoni Radziwiłł, — wniosek o umieszczenie marmurowego biustu Bismarcka na sali posiedzeń.

Nie możemy się owym 29-ciu członkom izby panów, noszącym nazwiska niemieckie, tak bardzo dziwić, że podobny wniosek stawili, ponieważ najrozmaitsze objawy nawet kołowacizny na punkcie objawiania Bismarckowi bałwochwalczej czci obecnie są na porządku dziennym, lecz nie tylko dziwić się musimy, ale dać wyraz najgłębszemu oburzeniu, że człowiek noszący nazwisko Radziwiłłów, nie wahał się takim czynem splamić to i tak już w dziejach przeszłości naszego narodu nie bardzo zaszczytnie zapisane nazwisko! Inni członkowie rodziny Radziwiłłów starają się przynajmniej obecnie przez dzielną obronę najświętszych praw naszych wymazać lub też pogrążyć w zapomnieniu winy swych przodków wobec ojczyzny naszej, tylko książę Antoni widocznie nie odczuwa tej potrzeby, albo zapomniał, ile łez polskich płynęło z powodu Bismarcka, ile krwawych, jak otchłań głębokich ran, których czas nigdy przenigdy nie zabliźni, ten bożek naszych wrogów żelaznymi pazurami sercom polskim zadał! A jeżeli pod tym względem księciu Antoniemu pamięć dopisuje, to chyba wymarło w sercu jego wszelkie czucie dla spraw polskich, serce jego wystygło, stało się obcem dla narodu jego przodków niepolskiem — —! Wolimy, aby się książę Antoni nie przyznawał do polskości, bo będąc Polakiem i podpisując wyżej wspomniany wniosek, byłby — potworem!

Przegląd prasy słowiańskiej.

Narodni Listy, oceniając słusznie pseudo-liberalizm niemiecki, a w szczególności liberałów austryackich, tak piszą:

My Czesi mimo to, że bój narodowościowy tworzy się u nas z zajadłością bezprzykładną, że nas walka o utrzymanie bytu narodowego w znacznej części pochłania, ani na chwilę nie ustaliśmy w obronie ideałów drogich człowieczeństwu, ideałów równości i braterstwa ludów.

„„To, co niedawno temu w imieniu naszem wypowiedział w parlamencie poseł Eim, dosadnie charakteryzując liberalizm niemiecki, ubodło naszych Niemców do żywego. W parlamencie zapanowała po mowie posła cisza, nikt się nie odważył zbijać wywodów czeskiego posła, który przypomniał w pamięci konserwatystów to, czego uczą rewolucya francuska i inne.

„Epigonowie Giskrów i Mühlfeldów, członkowie lewicy milczeli również, dopiero przy innej sposobności imieniem lewicy odpowiedział jeden z jej mówców najlepszych, *Dr. Menger:*

„To, co imieniem liberałów niemieckich powiedział, streszcza się mniej więcej w tem:

„Nas Niemców jest w Cislitawii tylko 8 milionów, Słowian 14. Gdyby Niemcy na głosowanie powszechne przystali, wówczas pozostaliby w mniejszości nie nieznacząсej. Do takiej ofiary liberalizm doprowadzić ich nie może.“

Dalej mówił Menger, że Czesi za prawem powszechnem występują nie dla ideałów ogólnoludzkich, ale dlatego, żeby ich naród większe osiągnął korzyści.

Deputowany niemiecki nie wie więc nic o tem, że posłowie czescy już w roku 1871 wystąpili z projektem ustawy, według której miały być zabezpieczone prawa narodowościowe, nie wie również i o tem, że Dr. Karol Śladkowski już przed 20 laty żądał ustawy zabezpieczającej mniejszości parlamentarne....“

* *

Srpska Zastava występuje przeciw nowemu rozporządzeniu rządu madziarskiego, zmierzającego ku ukróceniu wolności kościoła prawosławnego serbskiego:

„Madziarzy wiedzą o tem dobrze, jaką potęgą jest w obronie naszych interesów narodowych kościół prawosławny. Dotąd mieliśmy za-

---

JAROGNIEW.

Chora miłość.

(Ciąg dalszy.)

Coś mnie wyraźnie otaczało, jakiś duch był w koło mnie i szeptał mi do ucha, donosząc do mnie, jakby echem zaklętem, oderwane dźwięki jej głosu, jej śpiewu; przed oczyma migotały blaski jaskrawe i światełka różnobarwne.

Pamiętam, jak zerwałem się potem i światła zapalać zacząłem. Chciałem się uwolnić jak najszybciej, jak najprędzej, koniecznie od tych mar łudzących i pozapalałem wszystkie lampy i świece w kandelabrach, aby mieć jak najwięcej jasności. A gdy w pokoju aż łuny biły i światła o lepsze walczyły ze sobą, było mi, jakbym się doprawdy ze snu głębokiego obudził.

Gdy stanąłem potem tu na środku pokoju i rozejrzałem się wkoło, mając jeszcze w słuchu podrażnionym, jakby muzyki echo, — wtedy miałem cudne, cudne, urocze złudzenie. — Przypomniała mi się noc jedna z moich lat dziecinnych. Pamiętam, raz na Boże Narodzenie zabrała mnie matka na pasterkę do wiejskiego kościoła. Tak samo jasno było wtedy w kaplicy, śpiew dziecinny słyszałem z chóru, i widzę dotąd jeszcze księdza w bieli przed ołtarzem.

I połączyło się potem wspomnienie jej postaci i owe z lat dziecinnych przypomnienie, jakby w jednę, anielską całość, i było mi tak miękko na sercu, tak miękko, że zapłakaćbym mógł gorącemi łzami.

Stają mi te uczucia tak wyraźnie w pamięci, że mimowoli budzi się we mnie teraz jakby ich odbicie, i tak mi smutno, tak mi anielsko smutno w tej chwili, — że niech to wszyscy djabli wezmą.

Pragnąłbym się roztysiącznić, rozpaść, roztopić w żalu: a smutek ten rzewny koi mnie coraz bardziej, i nie wiem, ale może przyjdzie jeszcze chwila, w której dobrze mi z nim będzie, jak z pamiątką lub natchnieniem.

Trę czuprynę czarną, aby dodać sobie energii i męskości, i nie mogę, no nie mogę, — coś mnie rozbiera, zupełnie obezwładnia.

A jaki ja wtedy byłem miękki i słaby, — Boże wielki, gdy sobie przypomnę, to wierzyć mi się nie chce, przecież niby mam coś brutalnego i szorstkiego w sobie. A to wszystko ten śpiew, jej śpiew sprawił. Całą noc spędziłem bezsennie, coś mnie wyraźnie podrywało i parło do niej, i nie wytrzymałem, jeszcze rano, może o dziesiątej godzinie, już byłem u niej.

Pokojówka wpuściła mnie do salonu i kazała czekać, — pani jeszcze się ubierała.

Wbiegłem do pokoju, a gdy mnie zapach perfum jej doleciał, zacząłem znowu się rozmarzać. Więc to tu, tu miałem być wczoraj tak szczęśliwym? Czy to nie sen, czy to tylko nie sen? — Usiadłem i czekałem; otoczenie zaczęło znowu wywoływać we mnie wczorajsze wspomnienia, ale tak jakoś dziwnie. — Wrażenia przy niej doznane i w nocy przebyte mięszały się jakoś w mojej pamięci, nie wiedząc zkąd przypomniałem sobie noc ową, spędzoną z matką w kościele, i nie zdając sobie sprawy jeszcze, zasiadłem do fortepianu i grać zacząłem, jakby echo moich wspomnień, jakby myśli mych odbicie, jedyną pieśń kościelną, którą umiałem: „Stabat Mater“ Rossiniego.

Ta melodya tak płynęła, jak ze serca mego, rumieńce wystąpiły mi na twarz, i grałem wolno, jakby nie ręce me tylko grały, ale i dusza z niemi, a cała moja istota wtórowała. Kilka akordów już przebrzmiało, — w tem doleciał mnie przyciszony lekki wtór. Brzmiało to, jakby organy dalekie zagrały cichutko, jakby w lesie młodych drzew konary zaszumiały pieśnią, a chór aniołów przyśpiewywał z góry.

Brzmiało to, że oczy przymknąłem i, grając prawie bezwiednie, oddałem się zupełnie tej pieśni, która mnie unosiła lekko, jak fala w strumieniu. Było to, jakby dokończeniem marzeń mych nocnych, — jakby snu uzupełnieniem na jawie, a tak wnikało mi do duszy, że każda cząstka jej była wsłuchana, zaczarowana. Podniosła się ciężka portyera we drzwiach i stanęła ona na progu, w żółtym szlafroczku, pieśń nie zamarła jeszcze na jej ustach.

Gdy ujrzałem ją przed sobą znowu za białego dnia, tchnącą życiem, prawdziwą, myślałem, że serce wyskoczy mi z piersi, — to ona więc złota, żywa, — ona! — Przestałem grać raz całem pieśń, — tylko pobiegłem do niej i chwy-

gwarantowaną ustawami autonomię Kościoła. Dziś rząd poczyna się do spraw wewnętrznych mięszać i duchowieństwo dozorować.

Wielkie oburzenie wśród obywatelstwa serbskiego wywołała wiadomość, że rząd madziarski wydał rozporządzenie, aby nie dopuszczano duchowieństwa prawosławnego do kongresów, podczas których poruszano różne ważne kwestye.

„Oburzenie na ten nowy zamach na autonomią Kościoła jest całkiem zrozumiałe, gdyż każdy z nas wie, iż ostatnim i jedynym naszym wałem ochronnym był Kościół, niezależny od rządu....“

* * *

Główny organ czeskiej Omladiny, socyalistyczne *Radikalni Listy* tak charakteryzują politykę rządu austryackiego:

„Przewodnią myślą państwowej polityki austryackiej jest ta fałszywa zasada, polegająca na niezrozumieniu przyrodzonego procesu ewolucyjnego o ciągłym rozwoju socyalnym i politycznym narodów, klas, jednostek i decentralizacyi.

Przypatrzmy się przeszłości Austryi, a ujrzymy, że wszystką swą moc wytężał rząd, aby pozbawiać samodzielności swoje ludy; dla potrzeb socyalnych i narodowych ludów brak mu było zawsze zrozumienia. Nie jesteśmy dziećmi świata starożytnego, na nasz ruch pada atoli zawsze cień przesądów wieków przeszłych, duch dynastyczny i militarny. Jesteśmy pod jarzmem tradycyi przestarzałych, które w ostrem stoją przeciwieńsswie do potrzeb ludowych doby dzisiejszej. Wiedzie u nas walkę prąd hierarchii kościelnej, urzędniczej, wojskowej i szlacheckiej przeciw poglądom nowożytnym, — ciężki, stary mechanizm martwy przeciw żywemu i rosnącemu organizmowi idei ludowych, socyalnych.

„Wielkich akcyi reformujących, postępowych nowożytne dzieje Austryi nie znają. Za najlepszych ministrów w Austryi uważają tych, którzy zdołali wyrafinowanym sposobem; wzmocnić pęta stare, gniotące wolność i rozwój.

„W miejsce koalicyi czysto szlacheckiej mamy dziś koalicyę kapitalistyczną, pieniężną.

„Obecny ruch w społeczeństwie czeskiem jest ruchem przyrodzonym, a nieszczęśliwą, fatalną w skutkach jest taktyka dążąca do „pacyfikacyi“, chcąca ten rozwój naturalny zniszczyć.

„Dziś poznaliśmy, że kwestya czeska nie jest wyłącznie kwestyą językową, ale jest kwestyą socyalną i kulturną.

„Rząd chce w kraju naszym utrzymać porządek, ale ten porządek pojmuje w swój sposób. I my chcemy porządku, ale porządku rzeczy w naszem mniemaniu sprawiedliwego.

D. K.



Liście jesienne.

Nim mgły poranne, zanim zimne szrony
Ostatki wdowiej krasy ci zabiorą,
Nim się rozwieją drzew twoich korony,
Lubię cię, roku najsmutniejsza poro!

Bo jako posąg niezmiernej boleści
Stoisz przedemną, blady dniu jesieni,
Z wieńcem na głowie, którym wiatr szeleści,
Z orszakiem mgławic, z słońcem — bez promieni.

I cierpię z tobą, kiedy wicher jary
Z tryumfu pieśnią targa twoje włosy,
A ty, bezbronna, nagich drzew konary
Z szałem rozpaczy podnosisz w niebiosy.

I kiedy słucham tych wietrzanych pieśni,
I kiedy patrzę, jak padają liście,
O nowem szczęściu smutna dusza nie śni,
Nie wierzy serce w nowej wiosny przyjście.

W jakąś ogromną harmonię się zlewa
Jęk mego wnętrza i ten szum wichrowy,
I traw szelesty i liści ulewa
I jasne kwiaty — z powisłemi głowy.

I jest mi dobrze jako posągowi,
Co na cmentarzu drogie szczątki gniecie,
Grobowe dźwięki ucho moje łowi —
I jest mi błogo na tym pustym świecie.

Poznań. 95. *St.*

Z SERYI TRZECIEJ.

I.
EKSTAZA.

Nie widzę, słucham cię oczyma, biała!
Nagości twojej linie i kolory
W hymn mi się jeden łączą różnowzory,
W muzykę kształtu, w pieśń twojego ciała.

Melodyą jesteś i harmonią cała!
Rzucona kędyś w dalekie przestwory,
Jako przelotne świecisz meteory —
Pieśń twej piękności promienieje, pała.

Komu się zjawisz taka, pójdzie dalej
Z twarzą od świata odwróconą, senną —
Jak ci rzeźbiarze, co Wenus promienną

Niegdyś w paryjskim marmurze kowali,
Chodzili cisi, senni między ludem —
Oni widzieli cud i żyli cudem.

II.
SYMBOL.

Noc na wód cichem, bezbrzeżnem pustkowiu.
Przez nieruchome ciemnych chmur tumany
Na fale księżyc prześwieca miedziany
Wśród gwiazd, o blasku przygasłym ołowiu.

Wicher z poświstem, jak w gęstem sitowiu,
Pełza po wody powierzchni rozchwianej,
I, zda się, wlecze senne oceany
Ku nagich, skalnych wybrzeży wezgłowiu.

Na głębi głuchej, ciemnej i bezkresnej
W mglistym księżyca blasku się kołysze
Krzyż — na nim Chrystus rozpięty bolesny.

Gdzieś w nieskończoność, w nieprzebraną ciszę,
W niezmierną pustkę płynie przez odmęty
Krzyż — na nim Chrystus bolesny rozpięty.

Heidelberg. 95.

Kazimierz Tetmajer.

Curiosum historyczne.

(St. Tarnowski: Nasze dzieje w ostatnich stu latach).

Stanisław Tarnowski — dostojny prezes Akademii Umiejętności, wyświadczył „istne dobrodziejstwo powszechności czytelników polskich“, — tak przynajmniej twierdzi w ekstazie uwielbienia felietonista „Dziennika Poznańskiego.“

Dobrodziejstwa pisarza tego są mniej więcej znane polskim czytelnikom i słuchaczom jego odczytów. Podaje je on w pięknej, rzeźbionej, drobiazgowo cyzelowanej formie, przypominającej stylem filigranowe ozdoby pańskich salonów. Nikt też zapewne nie zapomniał jeszcze *„złotych myśli i zdrowych rad“* udzielanych społeczeństwu w zbiorze *„doświadczeń i rozmyślań*, które doprowadziły autora między innemi do wniosku, iż uboga nasza i tysiącami klęskami wycieńczona ojczyzna powinna rywalizować z bogatą Francyą w ofiarności na świętopietrze, a zadłużeni i zboże na pniu sprzedający rodacy za obowiązek swój uważać mają utrzymywanie tradycyi pięknych manier i światowej ogłady na zagranicznych dworach.

Tym razem dźwięczny głos hrabiego — profesora przemawia do ludu i to do ludu z pod austryackiego zaboru, jednakże, jak zarzecza wspomniany felietonista, czytelnicy z innych dzielnic Polski i z innych warstw społeczeństwa niemniej rzetelną korzyść z książeczki onej wynieść mogą. — Jest ona podobno nietylko *dobra* lecz *„doskonała“*, a prócz tego *„miła i swojska“*, jest *„najczystszem ziarnem“* spadającem na niwę ojczystą, nowym zasiewem z którym *„autor ku nam zstępuje“* i t. p.

Po przeczytaniu tak gorących pochwał, każdy zapewnie z czytelników „Dziennika“ zechce rozpatrzyć bliżej owo najczystsze ziarno, a może ciekawym będzie również, z jakich to wyżyn niebotycznych „zstępuje“ ku nam autor krakowski. — Jeżeli jednak przy bliższem przyjrzeniu się sprawie ujrzy, że owo „ziarno“ jest makiem usypiającym, a owe „wyżyny“ wznoszą

---

ciałem jej ręce białe, pachnące świeżo po śnie i okrywać je zacząłem pocałunkami.

— Pani moja, — pani moja!

Ona uśmiechała się do mnie pobłażliwie i włosy me ręką gładziła, jakbym dzieckiem był. A gdy znowu tego dnia grać zaczęła, prosiłem ją na wszystko w świecie, aby owej aryi z „Trubadura“ więcej nie śpiewała, — wszystko inne, tylko nie tę pieśń, bo serce mi pęknie.

Siedziałem znowu u niej długo, i zaczęły się dla mnie dni rozkoszy, szału i jakiegoś upojenia, które mnie od ziemi odrywało i przytomność odbierało prawie.

Siadywała na otomance często, a ja u nóg jej klękałem i wpatrywałem się w oczy jej długo, które błyszczały ku mnie coraz to innym blaskiem. Rączki jej aksamitne w dłoniach tuliłem i tak mi było, jakbym za chwilę w mgłę rozwiać się miał u jej stóp, jakbym miał ducha wyzionąć lub rozpaść się na cząstek miliony, w pył u jej stóp. Gdy fala złota włosów spływała z ramienia jej na piersi, okryte zwojami koronek, wtedy budziły się we mnie gorączki jakieś, — domyślałem się, jak pierś ta uroczo falować musi pod tem okryciem swem, jakie blaski ogniste z niej promienieją. To znowu chwilami nie śmiałem myśleć o tej piękności jej ciała, bo taką wydała mi się świętą, oderwaną od ziemi.

Gdy tak u nóg jej leżałem, wtedy, z uśmiechem rzewnym na ustach, uwalniała rękę jednę z mojego uścisku i gładziła moją głowę. — To było wszystko, czego od niej doznałem, — to lekkie muśnięcie dłonią, z pod której rozchodziły się po całem ciele mem rozkoszne dreszcze.

O Ida, Ida, — gdy sobie to przypomnę, wyprężam się cały na otomance i zęby zacinam, o Ida, co ja dla ciebie wtedy cierpiałem w tych samotnych chwilach, albo leżąc u nóg twoich, jak niewolnik! Co się nieraz zemną działo, — szatanów wszystkich czułem w tej piersi, rozpartej pragnieniem i bólem i rozpaczą.

Jabym pragnął cię w takich chwilach półmartwą, leżącą w moich objęciach, — pragnąłbym czuć w twojem ciele tajone dreszcze, pragnąłbym widzieć w oczach twoich, na pół zawartych takie iskry, takie ognie, takie płomienie nieugaszone niczem, pocałunkiem ni pieszczotą... Ja chciałem, żebyś ty mnie tak kochała, jak kobieta kochać może, kochać pragnie, — a widziałem cię z tym pobłażliwym uśmiechem matki czy siostry starszej, gładzącą włosy moje dłonią miękką, ty święta, okrutnie spokojna! Zaciskałem zęby i nic mówić nie chciałem, bo mi żal było ranić cię słowem ostrzejszem.

Jabym cię mógł tak pochwycić w objęcia i tak przytulić do łona gorącego, — ale ten śpiew, ten śpiew twój robił ze mnie niewolnika, i padałem w proch przed tobą z żalu, że myśleć tak mogłem na chwilę, prawie jęcząc, prawie skomląc z bólu, że ciebie obraziłem pragnieniem.

To wydałaś mi się taką wpatrzoną w jakiś wzniosły widnokręg uczuć własnych i natchnień, że nie widziałaś chyba tej miłości we mnie i tego szału. Myślałem już, że w piersi twej serce z kamienia, które raz tylko otwarło się dla sztuki twojej

O Ida, Ida, twój uśmiech słoneczniejszy rozwiewał już te myśli moje i szamotania; — gdy marzyłem przy tobie, już wystarczało mi to za wszystko i wynagradzało moje cierpienia.

Nieraz, gdy wieczór już zapadł, siadała do fortepianu i lekko akompaniując śpiewała cichutko, a ja siadałem u nóg jej, głowę składałem na jej kolanach i śniłem. Czasem odjęła rękę od fortepianu, i pieściła mnie dłonią miękką, a śpiewała przytem, jakby mnie do snu utulić chciała, jak dziecię.

— Dobrze ci teraz? — mówiła raz do mnie, — ty jesteś taki biedny, — taki chory, a jabym cię tak pragnęła uleczyć.

Ja wiem, że byłem chorym, — ale słowa te jej koiły mój ból, i tak mi dobrze było wtedy przy niej.

Takie cudne miałem sny, — gdzież one się podziały! — Może doznam w życiu większej radości, potężniejszego uczucia, — ale ukojenia takiego, takiej ciszy łzawej, jakgdyby słońce

się ponad poziomy zdrowej logiki i ścisłej historycznej prawdy, — dziwić się nie powinien, — gdy przypomni sobie dawniejsze ziarna, które na nas z tejże samej wysokości spadały.

Pan Stanisław Tarnowski święci pokutną rocznicę stuletniej niewoli polskiej opowiadając ludowi treściwie porozbiorowe dzieje kraju. Nic nie można zarzucić temu sposobowi święcenia, owszem przyklasnąć by mu należało, gdyby prezes Akademii Umiejętności z zadania swego wywiązał się sumiennie, z należnem uszanowaniem dla historycznej prawdy, a ludowi do wierzenia podawał to, co istotnie na wiarę zasługuje. W takim razie praca jego, choć może nie dobrodziejstwem, byłaby przecież zasługą, gdyż do oświaty warstw niższych przyczynićby się mogła.

Celem książeczki jednak nie jest bynajmniej oświecanie umysłów, lecz wzbudzenie w nich wiary, że wszystko co *„starszyzna“* czyni, czyni dobrze i doskonale, że wszystko co się dzieje — dobrze się dzieje, że pokornie słuchać i bezczynnie czekać jest jedynym obowiązkiem obywatelskim, jakiego się od ogółu narodu wymaga. *Treściwość* opowiadania, którą autorowi krytyk, a raczej panegirysta z „Dziennika“ przyznaje, odnosić się może tylko do niektórych ustępów historyi, to jest do tych mianowicie, które się *autorowi* nie podobają. — Tak np. słusznie zupełnie uznać ją, a raczej zarzucić można w opowiadaniu dziejów ostatniego powstania. — Natomiast, gdzie o niej mowy nie ma, gdzie nawet pewna rozwlekłość razi czytelnika, to w opowiadaniu o życiu i zasługach dygnitarzy i hrabiów galicyjskich, którzy wysokie zajmowali stanowiska, a o których czasem sam autor więcej powiedzieć nie może jak to, że znali się na pracy, którą im powierzono. Być może, że w Galicyi, a może i w innych stronach kraju wyjątkiem jest hrabia lub książę posiadający kwalifikacye odpowiednie do swego zadania, lecz bądź co bądź zasługa tego rodzaju do wiekopomnych wypadków historyi nie należy.

Metodę tę zrozumiemy, jeśli przypomnimy sobie, że dziełko przeznaczone jest dla galicyjskiego ludu, autor więc uważał za stosowne wzbudzić jaknajgłębszą cześć dla prowodyrów tamtejszego społeczeństwa i jaknajbezwzględniejszą wiarę w ich nieomylność. — To było właściwym celem jego pracy i tylko z tego punktu widzenia pewną konsekwencyą przyznać jej należy. — Po za tem głównem zadaniem, reszta tj. właściwe dzieje Polski w połączeniu z współczesną historyą Europy, — traktowane są tak lekko i niedbale, z taką dowolnością, z tak tendencyjnem naciąganiem faktów do powziętego z góry założenia, że istotnie, przyznać można słuszność twierdzeniu dziennikowego krytyka: „swojska ta książeczka uczy cierpliwości.“

Przypatrzmy się bliżej metodzie autora.

Opowiadanie swe rozpoczyna rozdziałem: „Po trzecim Maja“, w którym króciutko streszcza dzieje Targowicy, wojny z Rosyą, drugiego rozbioru i Kościuszkowskiego powstania.

W następnym zatytułowanym „Po trzecim rozbiorze“ mamy zaraz niezmiernie ciekawy opis rewolucyi francuzkiej. Czytamy tam na wstępie, że kiedy u nas pracował Sejm czteroletni, „we Francyi wzięto się do *podobnego* dzieła“. Podobieństwo to jednak ani w dwóch wyrazach zaznaczonem nie zostało. Wiemy dzięki autorowi, że u nas był zbytek wolności, we Francyi przeciwnie zbytek władzy; wiemy dalej, że poczciwy król Ludwik XVI chciał złemu zaradzić i zwołał Stany Generalne, czyli sejm, dalej jednak słyszymy tylko, jako ludzie przewrotni i burzliwi sejm ten opanowali, lud przeciw królowi buntowali, jak król z żoną i dziećmi uciekał, jak go potem schwycili i ścięli. — Czytamy jeszcze, co się stało z jego żoną i synem, czytamy o okrucieństwach, prześladowaniach, gilotynie, o walce z księżmi i Robespierze, — o bogini rozumu, zamykaniu kościołów i t. d. — o tem wreszcie, że Francuzi dzielnie bronili się od obcych wojsk, które przyjaciele i stronnicy króla na kraj naprowadzili. Najciemniejszy, byle zdrowym chłopskim rozumem obdarzony czytelnik za głowę się schwyci i zapyta: „Gdzie tu podobieństwo do Sejmu Czteroletniego?“ Rewolucya w opowiadaniu p. Tarnowskiego wygląda tak, jak gdyby była jednym wielkim i krwawym skandalem wymierzonym przeciw poczciwemu królowi, za to, że chciał poddanych do udziału w rządzie przypuścić.

Nie ma bowiem ani wzmianki o zniesieniu praw feodalnych, o ustanowieniu praw człowieka, o wszelkich reformach zamierzonych lub dokonanych przez naród, o równouprawnieniu stanów — nic, tylko mordy, gilotyna i okrucieństwa. Wedle słów Tarnowskiego całego ważnego i donosłego w dziejach przewrotu, który nową erę dla ludzkości rozpoczął, dokonali *burzliwi i przewrotni wichrzyciele.* — Z nazwą tą zresztą spotykamy się wciąż w tej książce, ile razy chodzi o jakikolwiek ruch ludów dobijających się wolności. Każde powstanie, każdą rewolucyą, czy u nas, czy w innych krajach, wywoływali wichrzyciele i burzyciele; koronowane głowy zaś albo zawsze miewały racyą, albo myliły się w dobrej wierze, albo też dawały się unieść naturalnemu zresztą rozdraźnieniu.

Do najciekawszych ustępów należy historya Królestwa kongresowego.

Cesarz Aleksander zrobił wiele dobrego dla Polski, gdyż „mógł ją zgubić, oddać na pastwę swym urzędnikom i wojskowym, a tego nie zrobił, tylko jakiś byt znośny nam zostawił“. Co do tego punktu wolno chyba mieć pewne wątpliwości. Królestwo polskie utworzył cesarz Aleksander nie z łaski, lecz pod naciskiem mocarstw obradujących w Wiedniu, z któremi liczyć się musiał i dla tego nie mógł Polski ani zgubić, ani na łup swym urzędnikom i wojskowym oddać. — My podobno „mieliśmy w ręku warunki i środki po temu, aby powoli rość w siłę i stać się na nowo wielkim narodem“, jednakże zaraz w następnem zdaniu czytamy, że „Królestwo kongresowe miało w sobie i koło siebie niebezpieczeństw tak wiele, że była rzecz prawie niepodobna, iżby mogło długo w spokoju ostać i trwać“. Jak tu jedno z drugiem pogodzić? Co nie może trwać, nie może ani rozwijać się, ani rość w siłę; — nawet lud galicyjski chyba na tej sprzeczności się pozna.

Epokę monarchicznej reakcyi po kongresie chwali Tarnowski twierdząc, że działo się nie źle, dopiero potem „zaczął się stan rzeczy w Europie psuć, gdy we Francyi, we Włoszech, Niemczech i Hiszpanii zaczęło się wzburzenie umysłów, niepokoje i rozruchy“. Przyznaje zresztą, że „powody (których nie wymienia) były słuszne, ale złe były sposoby i złe wyniknęły skutki“. Kiedy „głos ojcowski“, (jak mówi „Dziennik“) p. Tarnowskiego napomina Polaków „aby mocniejszego nie wyzywać ani nie obrażać“, to można go o tyle usprawiedliwić, że istotnie wszelkie dążenia nasze do niepodległości dotychczas chybiały celu i smutnie się kończyły, a choć cześć dla powodzenia i bezwzględna aprobata dla faktów dokonanych nie jest ani najrozumniejszą polityką, ani najgłębszą historyozofią, przy ogólnem jednak krótkowidztwie nie razi. — Gdy jednak takie napomnienia wygłasza pod adresem wolnej dziś Francyi, oswobodzonych Włoch, zjednoczonych Niemiec, to naprawdę, powaga jego ojcowska wprost śmieszną się staje.

Tajne związki krzewiące się po Europie przeniosły się i do Polski, co się p. Tarnowskiemu naturalnie bardzo niepodoba. Zdaniem jego spiski te, choć nieznaczne, zastraszyły Aleksandra i skłoniły do surowego postępowania.

Nie przypuszczamy, aby autor historyi Polskiej nie znał, nie przypuszczamy, aby nie wiedział w jaki sposób swobody traktatami zagwarantowane już w samych początkach gwałcono, jak bezskutecznie upominał się naród o poszanowanie wolności osobistej, wolność druku i pociągnięcie ministrów do odpowiedzialności, — tych ważnych podstaw konstytucyjnego porządku. — Niepodobna, aby autor któremu erudycyi przecież zaprzeczyć nie można, nie wiedział

---

uśmiechało się do mnie przez kropelki rosy — nie doznam nigdy, nigdy w życiu.

A tu w domu godziny, długie jak wieczność, na mękach ciągłych i cierpieniach, ach co ja przebyłem! Byłbym głową o mur tłukł i zakopał się pod ziemię z głuchego żalu. O, gdy sobie to przypomnę, — sto dyabłów, wolę nie myśleć o tem. — Raz, gdy poszedłem do niej rano, miotany byłem strasznym tym niepokojem i już nie wiem, do czego zdolen.

W saloniku nie było jej jeszcze, i pamiętam, gdy, wpatrzony z gorączkowem oczekiwaniem w portyerę we drzwiach, zdejmowałem rękawiczkę, rozdarłem ją na pół z tłumionego gniewu, — wtedy byłem już chyba do wszystkiego zdolen. Zrywało się coś we mnie coraz potężniej, rozpierało mi pierś pragnienie wielkie, nieznające żadnych zapór, żadnych przeszkód, żadnych więzów.

Podniosła się zasłona, i weszła Ida, witała mnie swoim rzewnym uśmiechem, a taką była piękną, — szlafroczek żółty spływał w fałdach i koronkowych zwojach do jej stóp, oczy błyszczały, jak dwa węgle czarne, a płeć miała tę barwę delikatną, pośrednią między białością, a różowością lekką. Widok jej postaci wiotkiej, chwiejącej się wdzięcznie przy ruchu każdym, podniecał te ognie, pożerające mnie, i przytrzymałem jej rękę na powitanie, przycisłem do piersi i wzrokiem rozpalonym wpatrywałem się w oblicze jej, świeże po śnie. Pierś podnosiła mi się gwałtownie i oddech stawał się głośnym, — pożerałem ją prawie spojrzeniem, i drżałem na ciele całem, gdy zapomniawszy słów zupełnie, pochylałem się nad nią i zbliżałem twarz do jej twarzy.

Cofał się lekko, i oczy rozwarły się jakby strachem, ręce jej, oparte na piersiach moich, wyprostowały się sztywnie, jakby mnie odepchnąć chciały, a głowę przechyliła w tył.

— Szalony, — Stach, — ja, ja nie chcę, wykrztusiła zaledwie, blednąc i przymykając oczy na pół.

Dysząc gwałtownie zbliżyłem się jeszcze bardziej, siłą brutalną przyciągłem ją do siebie, objąłem jej kibić i przycisłem do piersi namiętnie, — byłem pijany prawie.

— Musisz, musisz chcieć, — szeptałem i wpiłem się ustami w usta jej świeże.

— Ja cię kocham, — ty, ty musisz chcieć.

Z piersi jej wydobyło się westchnienie i zwolna obezwładniała w mojem objęciu, poddając się pieszczotom mym i uściskom. Potem oparła głowę na mojem ramieniu i zarzuciła mi ręce na szyję. Ledwie dosłyszalnie, jakby nieprzytomna, jakby w gorączce, szepła:

— Mój, mój drogi, — ja cię... tak kocham, tak kocham,

W pierwszej chwili, — pamiętam, byłem ogłuszony, w głowie wszystko mi kołowało, — myślałem, że padnę; potem, jakby mi coś krzykło w piersi, i objąłem kibić jej namiętniej, silniej i wpiłem się w usta znowu i nie widziałem nic przed sobą, tylko szalałem, całując ją i tuląc do siebie. Z piersi mojej wydobywało się jakby łkanie, nie wiem, ale zdaje mi się, że łzy mi ciekły po twarzy, a gdy teraz myślę co to było, nie rozumiem sam, czy smutek, czy boleść, czy żal, czy szczęście, czy radość, — byłem ogłuszony.

Potem z tej całej gmatwaniny uczuć wyłoniła się radość sama, podrzucała mną prawie, i byłbym krzyczał, śmiał się i ramiona roztworzył, aby świat cały miał w nich miejsce.

I przypadałem do niej i przyciskałem do piersi, jak furyat i tuliłem ją w gwałtownej pieszczocie, może jej nawet ból sprawiłem tym dzikim uściskiem.

Obudził się znowu we mnie ten brutalny, szorstki człowiek, — jak ona mnie kocha, — co mi cały świat.

Uniosłem ją w ramionach i usadziłem na otomance, a sam to chodziłem po pokoju, śmiejąc się z radości i szalejąc na swój sposób — to siadałem obok niej i przytulałem głowę do jej łona, to klękałem przed nią i okrywałem ręce jej pocałunkami.

Ona była podczas tego jakby śniąca, bez woli, tak zupełnie inna jak zwykle, taka miękka, rozmarzona, cicha, jakby ją moc mojej duszy zupełnie złamała. Milczała, tylko w oczach jej czytałem taką miłość i takie oddanie się, — odwracałem wzrok, bo przed oczyma mi ciem-

o samowolnem zaprowadzeniu cenzury już w 1819 r., o szlachetnej pełnej godności opozycyi posłów kaliskich, mianowicie braci Niemojowskich. Ich nazwiska godne czci narodu koniecznie powinny były być wymienione w dziełku, w którem znalazło się miejsce nawet na taki szczegół, że Marcin Badeni, minister sprawiedliwości, miał w owym czasie sławę najdowcipniejszego i najprzyjemniejszego na całą Polskę człowieka, co przecież u męża stanu całkiem drugorzędną jest zaletą. Nieporozumienia między carem a polskim narodem wyniknęły przecież nie z lekkomyślności Polaków, lecz z zasadniczych różnic w poglądach na konstytucyą. Aleksander uważał ją jako dowód łaski, którą każdej chwili mógł cofnąć, naród zaś jako gwarancyą swych praw i swobód, zastrzeżoną międzynarodowemi traktatami.

Jak widzieliśmy wyżej, p. Tarnowski staje na stanowisku cara Aleksandra, ztąd lekceważenie legalnej opozycyi narodu, ztąd też sympatya dla takich nieprzyjaciół wolności i konstytucyi jak minister Lubecki naprzykład. — Ciekawemi również są uwagi autora o sądzie sejmowym, który nazywa wielkim krokiem do zerwania zgody między Polską i Rosyą. — Nie może on odmówić podsądnym wielkiej odwagi i poświęcenia, zaznacza, iż opinia całego kraju była po ich stronie, lecz dochodzi do niespodzianego wniosku, że *„choć nie byli winni zdrady stanu względem Rosyi, ale byli winni względem Polski, że ją nierozważnie na nieszczęścia narażali“*.(!)

Z okazyi spisków poprzedzających powstanie wygłasza p. Tarnowski takie pod adresem narodu „zdrowe rady“: „Nie godzi się przygotowywać powstania i wojny, jeśli się nie ma lepszych, a przynajmniej takich warunków zwycięstwa jak nieprzyjaciel. Polska, choć miała swe wojsko i dobre, była od Rosyi oczywiście słabsza. Niedoświadczała też takiego ucisku, któregoby znieść nie mogła. W takim stanie rzeczy powinna była zachować się spokojnie, wzmacniać się i czekać“.

Nie ma co mówić, rada doskonała, szkoda tylko, że w większości wypadków nie wykonalna. Żadna strona wojująca przed ostatecznym wynikiem nie może mieć matematycznej pewności, iż na jej stronę zwycięstwo się przechyli — a dopiero faktyczny rezultat wojny może być niezaprzeczonym dowodem na to, po której stronie szala pomyślnych okoliczności przeważa. Jeżeli więc nikt z walczących nie może na pewno wiedzieć, czy wszczynając wojnę do rady p. Tarnowskiego się stosuje, czy jest silniejszym lub *przynajmniej* równie silnym, to już bezwarunkowo nigdy pewności tej nie może mieć wojsko powstańcze — zawsze walczące z przemocą, której długi czas ulegało. Jak się przekonamy z dalszego toku opowiadania, nawet p. Tarnowski nie byłby umiał wątpliwości na tym punkcie rozstrzygnąć, gdyby nam go była Opatrzność dała 60 lat wcześniej — a nie może przecież robić spiskowcom poważnego zarzutu z nieznajomości późniejszych faktów, które on dziś z pierwszego lepszego podręcznika wyczytać może. — Że Polska nie doświadczała takiego ucisku, któregoby znieść nie mogła, na to zgodzić się można z pewnemi zastrzeżeniami. Można znieść i 20 lat katorgi i całe życie Sybiru; można się pozwolić na prawosławie nawracać i rusyfikować, można żyć bez konstytucyi, bez wolności, bez praw narodowych, bez nauki polskiego języka i bez nauki w ogóle, można słowem, obejść się bez tego wszystkiego, do czego patryoci dążą. — Ucisk, *którego znieść nie można*, to chyba 500 nahajek na plecy, absolutny brak pożywienia, albo szubienica. Takiego ucisku cała Polska nie doznawała.

Powstanie 31 r. wybuchło, lubo zdaniem autora wybuchnąć nie było powinno, a choć „Rosya była tak wielką i silną, że wszyscy jej się bali“, to jednak były w czasie rewolucyi chwile, w których sam p. Tarnowski nie umiałby rozstrzygnąć, na czyją stronę przechyli się zwycięstwo. — Z okazyi bitwy grochowskiej powiada n. p., „że los wojny mógł był po niej obrócić się szczęśliwie dla naszej sprawy“, że „może nie ta jedna bitwa, ale cała wojna byłaby się skończyła inaczej“. Kończąc dzieje tej rewolucyi robi słuszną zupełnie uwagę: „Z dzielnym człowiekiem na czele, z szybkiem działaniem wojennem, powstanie mogło od początku iść lepiej, a po paru bitwach pomyślnych mogło było wzmocnić się tak, że w końcu byłoby wygrało. Ale tego nie było i wojna przegrana stała się strasznem dla Polski nieszczęściem, źródłem niezliczonych nieszczęść na przyszłość“.

Porównajmy to wszystko z „zdrowemi radami poprzedniego“ ustępu, a związku logicznego napróżno szukać będziemy.

I. Moszczeńska.

(Dokończenie nastąpi.)

Sacher-Masoch.

Jak świetny meteor, co się nagle olśniewającym roziskrzy blaskiem, by się w tejże chwili z przerażającą szybkością w dół stoczyć — tak przed laty około dwudziestu, na niebie piśmiennictwa niemieckiego zabłysła gwiazda Sacher-Masocha, by po krótkiej chwili blasku, zapaść w noc zapomnienia.

Był to czas gdy w Niemczech kult dla Turgeniewa z jednej a dla Schopenhauera z drugiej strony, w najwyższym się znajdował rozkwicie. Pesymizm frankfurckiego filozofa, był dla wiernej jego drużyny ostatniem słowem filozofii. Z drugiej strony, zachwycał Turgeniew przedmiotowym spokojem, prostotą, szczerem poszukiwaniem prawdy i tą tak niezwykłą u ówczesnych niemców pierwotną świeżością niezepsutego narodu. Łaknącym orzeźwiającego tchnienia, wśród pognębiającej ciszy umysłowej Niemcom, zdawał się Wschód być krainą, z której wyjdzie hasło odrodzenia sztuki.

W tem nagle pojawił się pierwszy tom „Testamentu Kaina“ Sacher-Masocha. Miał to być cykl z sześciu części złożony. Część ta pierwsza, zatytułowaną była: „Miłość“. Za jednym zamachem stał się jej autor sławnym mężem. Jego dzieło olśniewało i zdumiewało, odpychało i pociągało razem. Było to coś zupełnie nowego. Widziano tu i siłę talentu poetyckiego i świeżość pomysłów Turgeniewa i zasady filozoficzne Schoppenhauera. Obok nadzwyczajności i świeżości, wielki urok dla wielkich mas czytelników miała, niezwykła wtenczas, chorobliwa a przytem tak odurzająca swym czarem zmysłowość i lubieżność. Brano mu to z jednej strony za złe, aczkolwiek przebaczano. z drugiej zaś — w tem właśnie upatrywano cechę wyróżniającą młodego autora od innych. W każdym razie nie przeczuwano, iż odtąd po pochyłej drodze, na którą wstąpił, coraz dalej postępując, do tego doprowadzi, iż nauka pewne zboczenie płciowe od niego „masochizmem“ nazwie. A jednak rzecby można, iż niewiele więcej następne pokolenia o pisarzu tym wiedzieć będą, jak to, iż ze szczególnem zamiłowaniem tworzył typy mężczyzn, których zboczenie na tem polegało, że uwikłani w sieci pięknej kobiety w katuszach tysiącznych, jakie im ciągłe okrutne kaprysy ukochanej kobiety sprawiały, największą rozkosz upatrywali.

Sześć rzeczy przekazał nam według testamentu swego Kain w spadku: miłość, własność, państwo, wojnę, pracę, śmierć. Dwie z nich tylko znalazły w Sacher Masochu, swego poetę. Z całego cyklu, tylko dwa tomy przyszły do skutku, z których drugi — znacznie jest już słabszy. Za to tom pierwszy jest dzisiaj jeszcze jednem z arcydzieł literatury niemieckiej. Zawiera on prolog i trzy opowiadania: „Don Żuan z Kołomyi“, „Kapitulant“ i „Noc miesięczna“. Cztery te ustępy wystarczają, by Sacher-Masocha jako jednego z najzdolniejszych niemieckich nowelistów uznać. Jest tu cudna iście harmonia treści i formy, język muzykalnością swą z jednej a barwnością, plastycznością i oryginalnością z drugiej — czarujący. W prologu spotyka autor starca „włóczęgę“, który w ucieczce przed życiem, w dziewicze lasy

---

niało z wielkiej radości, i myślałem, że oszaleję lub przytomność stracę.

Ach, — jak ta złota moja mnie kochała! Sama nie była niczem, ostać się nie mogła bezemnie, jej myśl, jej serce, jej dusza było mnie zupełnie oddane na dolę i niedolę.

Gdy tak wżyję się w tę myśl, w głowie mi się kręci, mdleję prawie i myślę, że lecę w przepaść, gdzieś w otchłań, lub bujam bez oparcia w powietrzu zawieszony. Ona, ta wielka i dumna wczoraj, kochała mnie, mnie! — ja byłem dla niej takim wielkim, ukochanym, — i to prawdą? Jakże to może być prawda, cóż ona we mnie widziała?!

Gdy sobie to tak uprzytomnię, za głową oburącz się chwytam, gubię się w domysłach samych i pojąć tego nie mogę i wierzyć nie chcę pamięci własnej. Wtedy, gdy wróciłem do domu, zupełnie byłem przemieniony; jasność wielka świat mi rozwidniła, pragnąłbym oddać się całemu światu, cieszyć się z nim i żyć z nim, pragnąłbym roztopić się w nim radością wielką. Tak mi było potrzeba kogoś, z którymbym mógł mówić długo o swojem szczęściu, — opowiedzieć mu wszystko, co mnie cieszyło, i że ona mnie kochała!

Rzucałem się na wznak na otomankę swoim zwyczajem, biegałem wkoło pokoju, — pragnąłbym malować, krzyczeć, śpiewać, w jakibądź sposób ulżyć piersi, wezbranej uczuciem gwałtownem, a taką czułem w sobie siłę, taką potęgę, że strach. — Mój Boże, gdzież się to wszystko podziało!

Zdawało mi się, że za plecami mojemi obrazy wszystkie nachylają się do siebie i szepcą z filuternym chichotem o mojej miłości: słońce wpadające przez szyby do pokoju, mrugało na mnie szelmosko, a wszystko chyba cieszyło się ze mną, ach, bo jak ja się cieszyłem!

Wtedy nie mogłem być dłużej sam na sam z myślami swemi, — no nie mogłem: porwałem się i napowrót pobiegłem do niej. Zastałem ją siedzącą w tym samym jeszcze rogu kanapki, z głową opartą na ręku, i oczyma utkwionemi w bezmiar przestrzeni. Uśmiech okrasił usta jej na mój widok, i podniosła do mnie rękę, bezwładnie dotąd opuszczoną na kolanach.

— Przychodzisz do mnie, Stach, mój Stach, — rzekła.

— Jakże mógłbym być bez ciebie, jakżebym mógł siedzieć sam, — mój aniołku, moje drogie, moje złote dziewczę. „Mój Stach“! Kochana moja, jedyna, — twój, twój na wieki.

Porwałem ją w ramiona, jakbym ją chciał przykuć na wieki do siebie, — świat minie, życie się skończy, ale gdyby ta miłość moja, skończyć się miała, o Boże! wielki Boże! ja muszę ją zobaczyć, muszę jeszcze tutaj, to nie może być, aby ta miłość się skończyła!

Pieściłem ją, siedząc obok niej na otomance, i szeptałem ciągle, — co, nie pamiętam ale dziś mówiłbym wiele, wiele więcej.

— Szczęście moje całe, ty nie wiesz, jak mi źle bez ciebie, jak tęskniłem za tobą, moja droga, moje wszystko.

Oczy jej czarne, lśniące, przysłoniły na pół powieki, i splotła mi ręce koło szyi i bezwładnie, śniąco położyła głowę na mojem ramieniu.

Ido, — czuję, jak mi serce bije, powietrza mi braknie, tchu, — Ido, zemdleję, zginę, przepadnę przy wspomnieniach tych!

A wtedy, gdy ją tak widziałem obok siebie słabą, maleńką, cichą, — podniosła mi się pierś jakąś siłą, jakąś dumą, szczęście pierś mi rozpierało razem z tem poczuciem siły i przewagi.

To rozumiem takie szczęście, to szczęście mężczyzny: ja kochanek i ja pan! — Kobieto, gdyby mi tak myśl przyszła wtedy zabić siebie i zabić ciebie, z jaką dumą byłbym śmierci zajrzał w oczy, a ty z jakim strachem, albo nieprzytomna.

Dlatego cię tak kochałem, że cię czułem częścią własnej istoty, mnie podwładną i nierozłącznie moją. Dlatego cię tak kocham jeszcze, boś mi była więcej niż kochanką, ja przy tobie czułem wtedy swoją moc, widziałem niebotyczność całą myśli swych, potęgę duszy swej.

(Dokończenie nastąpi.)

się schronił. Starzec ten wygłasza zdania pełne tragicznego samopoznania, bezlitosnej negacyi i rozpaczliwego szamotania się z istniejącym porządkiem rzeczy. Nazywa człowieka „najprzemyślniejszą, najchciwszą krwi i najokrutniejszą bestyą“. Miłość nazywa „walką płci“; jestto pojęcie, w którem już cały przyszły „masochizm“ w swym zarodku się okazuje. W „Don Żuanie z Kołomyi“ mówi mężczyzna do kobiety: „Jako w objęcia samobójstwa, tak się rzucamy w objęcia płci drugiej. Zdaje się nam, żeśmy umarli. Chcemy się bronić przeciw przemocy obcego życia, powrócić do własnej jaźni, nienawidzimy tej przemocy“. Tu widzimy już pierwszy wyraźny przejaw owego później tak monotonnie w opowiadaniach Sacher-Masocha powtarzającego się „masochizmu“.

Jakim mistrzem jest Masoch w malowaniu natury — to najlepiej widzimy w „Nocy miesięcznej“. Oto próba: „...Przed nami łagodnie falujące, lasem zarosłe pagórki. Poniżej czarno-błękitnych drzew, stał pełny, czerwony księżyc, krwawą łuną niebo zalewając. Wspaniale i spokojnie płynął biały strumień gwiazd ze wschodu ku zachodowi; na dole, na północnej nieba stronie, jaśniał wielki niedźwiedź. Pomiędzy pobliskiemi wierzby, wznosił się z małego oparzeliska, które bladem, zielonawem połyskiwało światłem, lekki, przezroczysty obłok. W miarę, jak naprzód szliśmy, wypełniał się krajobraz coraz bardziej światłem. Po obu stronach rozstępowały się zwolna ponure ściany drzew i oto przed nami otworzyła się falująca równina, zielone, lśniące iskrzące się morze, po którem biały dwór szlachecki, ze swemi topolami, jako okręt o pełnych żaglach płynął....“ „Pełny księżyc zlewał z wysoka nad nami, świętem, czarownem swem światłem — krajobraz; tarcza jego płynęła czysta, niezaćmiona, po nad głowy naszemi; tajemniczy świat jego powierzchni, znaczył się na niej jeno jako blada woń, jako lekki rysunek na przesłonie oświetlonej lampy“.... „W kół, w lśniących wilgotnych gąszczach po nad stawem, po nad rzeką, zawodziły słowiki a teraz zakwilił jeden zupełnie już blisko, w ogrodzie, tak słodko, tak rozdzierająco....“

Kto tak pisał, ten mógł świetne rokować nadzieje. Niestety srodze zawiodły one wielbicieli nagle zeszłej gwiazdy. Coraz niżej i niżej zstępując, doszedł Sacher Masoch wreszcie do tego, iż w końcu jego imię już tylko na książkach jak „Messaliny Wiednia“ i innych tym podobnych jaśniało. I tak marniał z dniem każdym, sam popadając w niesławę i nędzę, a księgarzom, polującym za tłustemi historyjkami, tysiące przysparzając...

W ostatnich czasach, kilkakrotnie imię jego wypływało na chwilę z zapomnienia, z którego po części niezasłużenie i złośliwie krytyka niemiecka, nielubiąca go z powodu jego nieniemieckości, pogrążyła. Raz, gdy wielbiciele jego, z powodu sześćdziesięcioletniej rocznicy jego urodzin, dar narodowy przynieść chcieli, drugi raz, gdy żona jego do ofiarności publicznej z prośbą o pomoc dla potrzebującego troskliwej opieki biednego obłąkańca się udała i niedawno wreszcie, gdy dzienniki o śmierci jego doniosły.

Dziś, gdy umarł, wolno powiedzieó — jak niestety zbyt często — na inny on los zasłużył! Znienawidzony przez naród, dla którego pisał, którego języka używał, a do którego się nie przyznawał — nieprzytulony przez żaden inny, stał samotny wśród wielkiego tłumu piszących i kto wie, czy nie dlatego właśnie, w coraz większą skrajność, — w coraz straszniejsze popadał zmanierowanie. A jednak, w ostatnich jeszcze czasach czytałem mały szkic jego nowelistyczny. Jaka pełnia, jaka potęga talentu, co za przepych obrazów, co za siła w kreśleniu i jaka — acz chorobliwa — czarująca, dzika poezya we wszystkiem!

Sacher-Masoch u nas nie był lubiany i.... słusznie! Wychowany w Galicyi, gdzie ojciec jego pełnił służbę jako urzędnik policyjny, po ojcu niemiec, acz z dalekich przodków hiszpańskich, występował tak jak przeciw niemcom często i przeciw nam wrogo. Nie może to jednakże stać na zawadzie uznaniu w nim wielkiego, acz zmarnowanego talentu.

W przeciwieństwie jego, nie leżała ani rasowa ani narodowa niechęć, ile raczej stanowa i socyalna, co trzeba uznać za okoliczność łagodzącą. Nie usprawiedliwiamy go jednak, ani nie sypiemy na ten grób kwiatów, ale regestrując zniknięcie wrogiego nam talentu, który sam siebie zniszczył i przeżył, bez namiętności i gniewu patrzymy na usypaną mogiłę... *z. b.*

Wiązanki literackie.

(*M. Konopnicka: Na drodze.*)

Książka, o której dziś mam zamiar mówić, nie należy do najnowszych, ale do tych, które długo, długo zachowują świeżość, a pisaną jest przez jedno z najpierwszych wśród najlepszych piór. Mam na myśli zbiór nowel Konopnickiej p. t. „Na drodze“.

Trudno ptakowi, który przywykł latać w podniebnych sferach zejść i chodzić po ziemi, trudno jest duchowi, przywykłemu bujać wśród błękitów poezyi, porzucić boską mowę, iść ciernistemi drogami życia i opowiadać prostym, niewiązanym językiem, co na tych drogach, spotyka. Umie to jednak Konopnicka, a choć nie jest w tych opowiadaniach tem, czem przywykliśmy ją widzieć w poezyach, chociaż z groźnej i wspaniałej Afrodyty-Uranii przemienić się usiłuje w przystępną*) i popularną Afrodytę-Pandemos, jednak i w tej postaci jest wyższa o głowę od całego małego ludku nowelistów i nowelistek, a niekiedy olśniewa tym słonecznym lub gwiaździstym blaskiem, który przypomina, że to władczyni nieba, chwilowo tylko w ziemskie przyodziana łachmany.

I w tym tomiku zatytułowanym „Na drodze“ z datą r. 1893 znajdujemy jedną z tych gwiazd, którą wziąwszy z nieba zapomniała autorka zakryć ziemską szatą prozy, a która świeci z dala takim blaskiem, że ludziom się zdaje, jakoby wszystkie perły i dyamenty w niej były zebrane... Ale nie ma tam pereł ani dyamentów, tylko jedna święta łza nad pokrzywdzonymi, uciśnionymi, tylko jeden jęk oburzenia na niezasłużoną krzywdę.

Gwiazda ta nazywa się „Mendel Gdański.“

Ale najpierw wytłomaczmy zkąd ten dziwny tytuł zbiorku:

„Tymon Ateńczyk w podróży do Syrakuzy spotkał rosłego niemal kształtów męża, który niosąc niewielki, prawie pusty mieszek, aż do ziemi się uginał pod jego ciężarem. Widok był dziwny i śmieszny.“

Zaciekawiony pyta, co by to było?

Rzuca domysł za domysłem: może to mowa Klitjasza? może cnota Syrakuzanek? może rządy tyrana Dyonizyusza?

Nie, to są wszystko rzeczy zbyt lekkie w porównaniu z tem, co niesie nieznajomy. Więc może łzy Helotów?

— Nie, to co dźwiga jest cięższe od łez Helotów.

— Cóż to więc? na Zeusa! pyta zdziwiony Ateńczyk.

— Śmiech Helotów, zebrany na rynku w Syrakuzach.

Takie króciutkie opowiadanie pod tytułem „na drodze“ dało nazwę całemu tomowi, a jednym z okazów tego „śmiechu helotów“ jest Mendel Gdański.

Któż to jest ów Mendel? Prorok czy wieszcz? Czy bohater stojący na czele zbrojnego narodu, wielki uczony czy wielki marzyciel?

Nie, jest to poprostu introligator. Jest on znany i lubiany przez wszystkich sąsiadów z uliczki staromiejskiej, którą od niepamiętnych czasów zamieszkuje i zna ją także dobrze. Zna on wszystkie tajemnice tego małego światka. „Wie kiedy się powiększa, a kiedy zmniejsza kaszel starego archiwisty, który mu przyniesie do oprawy grube, pełne kurzu foliały zatęchłych papierów, wie jak pachnie pomada małego dependenta, któremu zszywa akta pana mecenasa; wie, kiedy przyjdzie Joasia od pani radczyni z żądaniem, aby jej za „śkło pięknie wsadził“ laurkę z powinszowaniem, na której złocisty anioł odkrywa się i pokazuje kawalera z bukietem róż w ręku; wie, kiedy nie je obiadu student, mieszkający na strychu, wie, z której strony nadbiegnie zdyszana pensyonarka, żądając, aby jej „niebiesko i ze złotemi sznurkami“ oprawił przepisane na listowym papierze poezye Czesława i Gawalewicza.

Stary Mendel ma małego Kubusia, wnuka, sierotę po wcześnie zmarłej córce, dziecko wątłe i chorobliwe, które chodzi do gimnazyum „na to, coby rozum miał“, na to, aby mądry był „na ten kraj, na to miasto“.

Do pewnego czasu nic nie zakłócało tej sielanki i tej harmonii. Zdarzyło się raz wprawdzie, że chłopaki od ślusarza i od szewca zebrali się przed oknem Mendla i robili sobie śmieszki z jego modlitwy, ale przechodził w tej chwili stary proboszcz, a widząc modlącego się żyda uchylił kapelusza i to wystarczyło do rozproszenia zawstydzonej dzieciarni.

Nagle powiał jakiś nowy wiatr. Nasamprzód Kubusia zaczepia jakiś chłopak na ulicy, krzycząc w ślad za nim „żyd!“ a on ucieka tak pospiesznie, że zgubił nową czapkę. Stary Mendel wystrofował go, nie tyle za czapkę, ile za to, że uciekał i wstydził się tego przezwiska.

...Jakby u ciebie mądrość była, toby ty tego nie wstydził się, nie płakał, nie uciekał, że kto na ciebie „żyd“ krzyknie...

...Ty się w to miasto urodził, toś ty nie obcy, tyś swój, tutejszy, to ty prawo masz kochać to miasto, póki ty uczciwie żyjesz...

...Uczciwym żydem być jest piękna rzecz! To pamiętaj sobie, — tak zakończa Mendel przemówienie, które radzibyśmy przytoczyć w całości, gdyby nie brak miejsca.

Ale oto pachnący wpada dependent i rzuca nowinę, że żydów bić mają: wchodzi zegarmistrz i powtarza tę samą wiadomość. — Jakich żydów? czy tych co kradną, co wyzyskują? toć i Mendel gotów pójść bić. — Ale nie, wszystkich żydów. — Za cóż wszystkich? — A za cóżby? Za to, że żydy? — Tu iskry błysnęły w oczach introligatora... Nie kusimy się oddać w kilku słowach wspaniałego przemówienia Mendla, przerywanego od czasu do czasu replikami tłustego zegarmistrza.

Wzniosłe ideje i oryginalną wschodnią obrazowość argumentacyi podnosi jeszcze przez kontrast gwara żydowsko-polska starego introligatora, i to jakieś niezwykłe pomięszanie wielkiego z drobnem, które nie pozwala zapomnieć Mendlowi nawet na szczycie patosu, że zgubiona przez Kubusia czapka kosztowała 5 złotych bez sześciu groszy...

...Ale strony rozeszły się bez wzajemnego przekonania. — Zegarmistrz jest typem płytkości i pospolitości, zupełnie niewrażliwy na żadną ideę szerszą. Zresztą do czego by to mogło doprowadzić?

Na drugi dzień wpada do Mendla chudy student z facyatki i odpychając od drzwi wychodzącego do szkoły Kubusia ostrzega go:

— Uciekaj, bo żydów biją!

Jak to uciekać, dokąd uciekać? Czy on co ukradł? — oburza się stary Mendel. — Ale nie czas na rozprawy, bo oto toczy się z hałasem rozszalały tłum... Przybiegają kobiety z sąsiedztwa i chcą wyprowadzić Mendla z wnukiem, a stróżka wystawia krucyfiks w oknie. — Ale Mendel stanowczy jest i niezłomny... Teraz wyrasta on na prawdziwego bohatera.

...Jedną rękę oparł ciężko na ramieniu chłopca, a drugą odsunął kobiety. Oprzytomniał już zupełnie przez tę jedną chwilę.

— Dajta spokój, Janową! — mówił twardym, brzmiącym jak dzwon głosem. — Dajta spokój! Ja wam dziękuję, bo wy mnie swoją świętość chcieli dać, mnie ratować, ale ja do moje okno krzyż nie chcę stawić! Ja się nie chcę wstydzić, co ja żyd. Ja się nie chcę bać! Jak uny miłosierdzia w sobie nie mają, jak uny cudzej krzywdy chcą, nu, to uny nie są chrześciany, nu, to uny i na ten krzyż nie będą pytali, ani na ten obraz... Nu, to uny i nie ludzie są. To uny całkiem dzikie bestye są.

„A jak uny są ludzie, jak uny są chrze-

*) I dla tego zrozumiałszą dla takich krytyków jak autor Studyów w Ateneum, który ze wszystkich utworów Konopnickiej najwyżej postawił nowele.

ściany. nu to dla nich taka siwa głowa starego człowieka i takie dziecko niewinne też jak świętość będzie.

— Pójdź Kubuś! — i z dzieckiem staje u roztwartego okna. Biedny idealista! Jak wszyscy prawdziwie wielcy ludzie liczy na wspaniałomyślne uczucia tłumu... Ale widok heroicznego starca i wątłego dziecka zwiększa tylko wściekłość tłuszczy. Kamień rzucony rani w głowę Kubusia. W tej chwili staje pod oknem student z facyatki i rozkrzyżowawszy ręce, pełen oburzenia i pogardy, wstrzymuje tłum odwagą swoją.

Był w tej chwili pięknym jak Apollo, — dodaje autorka — ale chyba nie dla warszawianek: bo co do większości ich serduszek, ściśniętych pod prętami konwencyonalnego gorsetu, prędzej przemówią naperfumowane wąsiki i ufryzowany czubek, niż pieczęć wielkości lub geniuszu na ospowatej twarzy...

Od tej chwili posmutniał Mendel, bo mu „serce umarło do tego miasta.“

Przerażającą głębię niedoli ludzkiej malują obrazki p. t. „U źródła“, „Na rynku“, „Dziady“, „Jakton“. Ten ostatni także i heroizm przekonania. Do tegoż zakresu należą „Dym“, „Nasza szkapa“ i „Głupi Franek“. Dwa pokrewne typy spotykamy w pierwszej i w ostatniej z wymienionych nowel. Typ sieroty, poety nie żyjącego życiem doczesnem, ludzi, którzy wybrali to jedno, o którem mówił Chrystus: „o wielu rzeczach staracie się, alić jedno jest potrzebne“!...

Oto naprzykład sierota, którą „janioł“ nauczył czytać. — zostawiła ją matka odumierając bez koszuliny, a najwięcej ta myśl umierającą męczyła i skonać nie mogła, dopóki kuma nie obiecała, ze „jak tyluśko skonają, zara z nich płachtę ściągnie i mnie koszulinę zrządzi“. A później „zwyczajnie to pchła to szturchła“. „Ale że jeść to dała... drugi raz to i kotu ujęła, żeli nie dostawało, a równie pamięć miała, że to sierocie głód.... Tyla co one chłopczyska straszne nademną panowały. Nie przeszedł żaden, żeby włosów nie targnął, nie szczypnął, pod ziobro kułakiem nie zajechał... A najbardziej to mnie poniewierały, żem ich uglądała jak się na książce uczyły“. I bili ją za to „uglądanie“ i odpędzali, a ona się jednak nauczyła: dostała gdzieś groszówkę i „bez trzy dni medytowała, „kandy ja tę groszówkę przed onemi chłopczyskami skryję, żem to spódniczątka nijakiego nie miała, ano i kieszeni, inom w chłopczyńskiej koszuli krowy pasła... A jednak nauczyła się na tej groszówce i jak teraz miarkuje, „to nic, ino janioł mi tak przez wszystko dopowiadał.“ I wie teraz, że „książka to wielka rzecz jest!“ — Jakże mało kto z naszej inteligencyi czuje tak te proste słowa jak ona czuła.

„Głupi“ Franek nie z książek drukowanych czerpał natchnienia poetyckie: stała przed nim otworem wielka księga przyrody i była dlań zrozumiałą, bo kochał ją i cenił. To też nie zdatny był do żadnej roboty: „latem żył z rzeki i podrywki, a zimą z miłosierdzia ludzkiego“. Jak i u tej sieroty, co ją „janioł“ uczył czytać, tak i u Franka rzeczywistość zlewa się w jedno z poezyą, z tradycyą. To miał, że pamięta Francuza, kiedy szedł na wojnę, to, że sam był dzieciątkiem, kiedy Heród niewiniątka mordować kazał... Z początkiem wiosny szedł „do matki — lub do ojca“ — tj. nad rzekę lub w bory, a wracał o szronie; a gdy ludzie żartowali:

— „Nie tęgo cię matka wyprawiła w świat“! — odpowiadał na to:

— Sama w biedzie. Sama w uciążeniu i pracy. Tera tyle rybek pożywić; tera tyle trawy nieść... tera tyle ziemi szmat obejść... Oj nie letki żywot, nie letki! A jeszcze i na oną siną świtkę zarobić także musi, strugi modre po nici zbierając, a na srebrnym wrzecionie przędząc“...

To znowu, w lesie widzi wojska i króla Balcera w płaszczu ze szczerego złota, w złotej koronie na głowie i słyszy huk bitwy.

Słyszy on co ziemia opowiada, „bo wiatr i ogien z żywych moc biorą, a ziemia moc bierze z tych umarłych kości. Co od kości umarłych usłyszy, to żywym powiada.“

— A co powiada?

— Powiada, co chleba da głodnemu, wody pragnącemu, lnu i konopi nagiemu, ziołów niemocnemu. Powiada, co pocieszenie da smutnemu, sprawiedliwość krzywdzonemu, uzwolenie zawartemu, a zmęczonemu wieczny odpoczynek — amen!“

I kocha tę swoją ziemię całem sercem, jak również z całego serca nienawidzi niemców — intruzów, którzy osiedli na drugim brzegu Narwi i powoli — potroszę skupują cały dobytek i ziemię od polskich chłopów, emigrujących do Ameryki. To też ze zgrozą stara się odwieść od tego swoich współziomków, a gdy jego prośby wywołują tylko śmiech „mądrych“, zaczyna śmiać się tak „że wstyd ich ogarnia...“

Za długo zabawiłem nad temi kilku, ażebym mógł chociaż pobieżnie wspomnieć o innych nowelkach lub obrazkach. Nie wszystkie są jednakowo piękne i głębokie: ale wszystkie pełne są tej prawdziwej poezyi, która, ażeby być piękną, nie potrzebuje się ozdabiać kosmetykami wyszukanej i sztucznej formy, jak pseudopoezya salonowa, i która tak ma się do utworów gracików filigranowych jak ospowata twarz owego natchnionego ideą „studenta z facyatki“ do zakręconych wąsików eleganta z wystawy fryzyerskiej...

W. M. Kozłowski.



O ruchu etycznym.

Szkic historyczno-filozoficzny.

(Dokończenie.)

Wspólnych interesów wszystkich dotąd wymienionych stowarzyszeń strzeże międzynarodowy związek wolnomyślnych, założony w Brukseli 30. sierpnia 1880 przez wolnomyślnych starego i nowego świata. Myśl o związku takim kiełkuje już dawniej na zebraniach w Amsterdamie w roku 1859 i w Neapolu w roku 1869, lecz bezskutecznie: dopiero w r. 1880 zamiar daje się przeprowadzić. Siedzibą rady jeneralnej jest początkowo Londyn, później przeniesioną zostaje do Brukseli. Na kongresie w roku 1889 w Paryżu 170 delegatów reprezentuje około 240 stowarzyszeń i związków, 21 czasopism i 16 lóż. Między stowarzyszeniami jest 100 francuskich, 17 belgijskich, 15 angielskich z national secular society, 32 hiszpańskich, 7 portugalskich, 3 włoskie, nadto 20 wolnych gmin niemieckich; związek niemiecki i szwedzki. Z pism jest 5 francuskich, jedno belgijskie, jedno portugalskie, 14 hiszhańskich; z lóż 11 francuskich, 3 hiszpańskie i 2 włoskie. Członków kongresu nader uroczyście wita i przyjmuje u siebie paryska Rada miejska.

Zauważyć jeszcze należy, że w ostatnich czasach Niemcy stały się silnem ogniskiem ruchu etycznego. Przez Niemców do Ameryki przeniesiony ruch ten ztamtąd znowu do Niemiec wraca i to za inicyatywą wspomnianych już W. Saltera, Dra Feliksa Adlera i Stantona Coit'a. Profesor uniwersytetu berlińskiego Jerzy Giżycki już w wydanym przed laty kilku dziele p. t.: „Moralphilosophie“ występuje w obronie stowarzyszeń etycznych, w nadziei, że „kiedyś, w czasach kiedy szable przemienią się na lemiesze a lance na sierpy, dawne instytucye zmienią się na gminy dla oświaty etycznej“. Dopiero znany reakcyjny projekt ustawy szkolnej ministra Zedlitz-Trützschlera'a skłania kilka umysłów wybitnych do opuszczenia stanowiska platonicznej miłości dla stowarzyszeń etycznych i do rozpoczęcia pracy praktycznej; przyczynili się tu wyżej wymienieni etycy amerykańscy. Odbywa się kilka zgromadzeń, wybierają komitet, a na dniu 19. października 1892 konstytuuje się w Berlinie „Towarzystwo niemieckie dla kultury etycznej“. Nie ma ono bynajmniej wrogich dawnym wierzeniom tendencyj, gdyż §. 1 statutu wyraźnie brzmi: „Celem Towarzystwa jest starać się tak w gronie członków, jak i poza niem, o rozwój kultury etycznej dla złączenia i zjednoczenia wszystkich, niezawiśle od wszelkiej różności stosunków życiowych, poglądów religijnych i politycznych. Przez kulturę etyczną rozumie Towarzystwo taki stan, w którym panują sprawiedliwość i prawda, ludzkość i wzajemny szacunek.“ Towarzystwo widzi nawet w tej tolerancyi swej zasadniczą różnicę od zapatrywań stowarzyszeń wolnomyślnych, lecz w zamian żąda też najdalej idącej swobody sumienia dla wszystkich. Srodkami dla dopięcia celu mają być:

1. Urządzenia w celu podniesienia etycznego wychowania młodzieży we wszelkich jego fazach i pielęgnowania przy pomocy nauki etyki tego wszystkiego, co jest prawdziwie ludzkiem i ludziom prawdziwie wspólnem, niezawiśle od różnic w obrządkach i zapatrywaniach stronnictw.

2. Urządzanie wśród członków odczytów i dyskusyj na temat kwestyj i zagadnień etycznych i krzewienie zbawiennego wpływu sztuk i nauk wśród najszerszych kół ludności.

3. Rozpowszechnianie rozpraw i dyskusyj etycznych przez książki, pisma, artykuły itd.

4. Branie udziału w polepszaniu stosunków i położenia biedniejszych warstw, w ochranianiu i niesieniu pomocy wszystkim cierpiącym i uciśnionym we wszelkich wypadkach nieszczęścia i bezprawia.

Naturalnie wątpliwem jest, czy à la longue utrzyma się owa tolerancya Towarzystwa z powodu rozlicznych kolizyj, na jakie cele jego z natury rzeczy są narażone, gdy na zewnątrz objawiać się zaczną. Chyba, że Towarzystwo chciałoby pozostać bezbarwnem, a więc nie rozwijać odpowiedniej działalności. Już na zebraniach wstępnych, w których brali udział przedstawiciele wszystkich bez wyjątku warstw społecznych, uwidaczniały się różnice zdań w tej mierze, tudzież różnice w zapatrywaniach co do zakresu działalności. Społeczni demokraci np. żądali pracy w swoim kierunku, ze względu na to, że obecny nastrój ekonomiczny bynajmniej nie odpowiada ideałowi etycznemu. Znaleźli się i przeciwnicy, którzy temu oponowali a w razie przychylenia się do wniosku demokratów, grozili cofnięciem swego współudziału. Na razie udało się jeszcze burzę zażegnać. Między przywódcami widzimy dyrektora obserwatoryum astronomicznego w Berlinie, Foerstera, wspomnianego już prof. Jerzego Giżyckiego i stryja jego, Hugona Giżyckiego*), tudzież znakomitego profesora uniwersytetu w Pradze, Dra Fryderyka Jodl'a, którego przemowa**) na zebraniu sekcyi Towarzystwa w Frankfurcie nad Menem obszernie przedstawia cele i istotę ruchu etycznego w Niemczech. Wybitnym działaczem na polu etycznem jest też M. von Egidy, który w licznych broszurach***) propaguje myśl czysto ludzkiej, ziemskiej etyki.

Rysem znamiennym niemieckiego i amerykańskiego ruchu w przeciwstawieniu do angielskiego i francuskiego jest brak nieprzyjaznych tendencyj dla dawnych wierzeń, ba nawet chęć posługiwania się niemi poniekąd dla własnych celów.

Ruch moralistyczny wywołał ruch przeciwny, tzw. immoralistów, wychodzących poniekąd ze stanowiska teoryj Fryderyka Nietzsche'go, negujących wszystko, a więc i moralność czyli raczej ogólne przepisy moralne a twierdzących, że każdy człowiek odrębną powinien mieć moralność, być sam dla siebie miarą swojej moralności. Do tego kierunku zaliczają się indywidualiści i „anarchiści moralności“ jak Wille, Mackay, bracia Juliusz i Henryk Hart i znaczna część „młodych Niemiec“. Ostatnim oddźwiękiem tego ruchu jest dzieło p. t. „Die Aussichtslosigkeit des Moralismus“ Adolfa Gerecke'go****), wywodzące, że przykazanie „Będziesz“ jest niesłuszne, łamie

*) H. v. Gizycki: „Hier stehe ich! Ich kann nicht anders! Gott helfe mir! Amen!“, broszura, Berlin 1893.

**) Dr. Friedrich Jodl: Wesen und Ziele der ethischen Bewegung in Deutschland, Frankfurt a. M. Gebruder Knauer 1893.

***) M. von Egidy: broszury „Ernste Gedanken“, „Ernstes Wollen“, „Einiges Christenthum“ 1893.

****) nakładem firmy Schabelitz w Zurychu 1893.

bowiem i więzi pragnienia i popędy jednostek. Przepisy moralne muszą się tak samo stać z biegiem czasu dogmatem jak były nim stare wierzenia. Co zatem jednostka (tak on wywodzi), pragnąca przejawić swoje popędy, doznająca zaś przeszkód ze strony przepisów moralnych, będzie wobec nich tak samo kłamała, jak kłamie dziś wobec krępujących ją dogmatów. Ujemny skutek moralizmu przedstawia Gerecke w sposób następujący: „Nigdy jeszcze nie powiodło się usiłowanie przezwyciężenia żądzy przez perswazyę. Moralistów przyrównać można do głupców, nakazujących sobie „nie będziesz pił“. Nadchodzi jednak chwila okropnego pragnienia, tj. łaknienie, wynikające z wstrzemięźliwości wywołanej pożądaniem; zamiast pić, ludzie tacy połykają najpierw ślinę, potem tysiąckrotnie maczają palce w wodzie, nareszcie zaś całą głowę zanurzają w wodę, pijąc dopiero bez miary; albo też wpadają w obłęd, biczują się, tańczą itd. . . . . Dlatego też, a uczy nas tego historya, naród moralny jest narodem bezmyślnym; nie tworzy nic nowego, nie postępuje. Żądze, pragnienie używania i intenzywne odczuwanie tegoż bez skrupułów moralnych — oto żyzny grunt, na którym wyrasta najwspanialsze kwiecie ducha“. Immoraliści mają nader licznych przeciwników, choć i ci nie ukrywają pewnych ujemnych stron ogólnych przepisów moralnych. Tak np. Chrystian Ehrenfels w artykule pt. „Werdende Moralität“ *****) powiada: „Wartościowanie moralne działa suggestywnie i na takie przymioty, których wzrost ze względu na zdrowy rozwój ogólny pożądanym być nie może, omijając inne, których pielęgnowanie okazałoby się pożytecznem. Zdarza się to zwłaszcza w epokach przejściowych i podczas przesileń rozwojowych. Rozwój wyprzedza bowiem zawsze wartościowania moralne, ponieważ na te ostatnie składają się w mniejszej części wnioski rozumowe, a w większej — instynkta, assocyacye myśli i przyzwyczajenie, wskutek czego są one płodem nie teraźniejszych, lecz minionych stosunków życiowych i społecznych“. . . . Mimo to uważam moralność za jedną z tam ochronnych przeciwko rozpasanemu potokowi, który egoizmem ludzkim zwiemy; usunąć moralność znaczy tyle, co narazić się na niebezpieczeństwa sprowadzane przez nieujarzmioną siłę żywiołu“.... Ruch immoralistyczny zresztą bardzo jeszcze jest młody i nie może się mierzyć co do sił swoich z ruchem moralistycznym, w którym umiłowanie ideału etycznego jednoczy osoby i społeczności tak różne, jak materyalistę Helwecyusza, utylitarystę Beuthama, ucznia Hegla — Feuerbacha, czciciela Kanta — Saltera, Unitaryuszów, Buddhystów i Bramanistów.

*****) Freie Bühne 1892 zeszyt IX.

Dr. S. Garfein.



Socyalizm w Galicyi.

Kwestya społeczna od lat kilku weszła w Galicyi na nowe tory. Starodawne formułki domorosłych znachorów chorób społecznych, któremi zażegnywano wszelkie zagrażające lub spodziewane „kataklizmy“ socyalne, przestały skutkować, odkąd powstał do życia stan czwarty naszej ery — rzesza robotnicza.

Zwolennik czy przeciwnik ruchu robotniczego, — każdy kto umie patrzeć na życie i z jaką taką trzeźwością osądzać jego objawy, przyznać musi, że powstanie tego nowego w życiu społecznem Galicyi czynnika rozszerzyło znacznie łożysko, którem się do owego czasu toczyły sprawy krajowe. Jakiś silniejszy podmuch z szerokich niw zachodu powiał na społeczeństwo galicyjskie, które po długim letargu bierności obudziło się do czynnego życia.

Ostatnich lat kilka dokonało niepoślednich zmian w ogólnej atmosferze społecznej w Galicyi. Szerokie warstwy ludności zaczęły się żywiej zajmować sprawami, leżącemi po za zakresem ich zajęć potocznych. Ogół zaczął baczniej śledzić czynności „uprzywilejowanych prowodyrów narodu“; krytyka ich czynności (resp. bezczynności) zaczęła się ujawniać coraz głośniej, coraz dobitniej. Różnice polityczne stronnictw, bojujących z sobą o przewództwo w polityce krajowej, uwydatniły się silniej w zabiegach około pozyskania potężnego sojusznika w śpiącej dotąd masie ludności robotnicznej miejskiej i wiejskiej, która nagle z bezczynnego uśpienia się ocknęła. Zdany na łaskę swoich „jenerałów“ tłum mieszczański (tak zwane obywatelstwo miejskie i wiejskie) ze zdumieniem posłyszał nowe hasła i nowe odgłosy, nie licujące zupełnie z formułkami „der alten guten Zeit“. Niejednemu strachajle błysnęło przed oczyma krwawe widmo roku czterdziestego szóstego, niejeden zadrżał ugodzony w najświętszem swojem poczuciu utrwalonego prawa posiadania.

Ogół jednak poczuł w sobie popędy do współudziału w życiu publicznem i pod wpływem tych popędów podniosła się silna reakcya przeciwko dotychczasowemu wszechwładztwu garstki panów i półpanków, którzy rządy Galicyi i losy jej ludności w swoich dzierżyli rękach.

Cały t. zw. prąd demokratyczny w Galicyi, którego obecność w życiu publicznem tego kraju datuje zaledwie od lat kilku, — był jakby dziełem jednego, nagłego, choć niegwałtownego przewrotu i dzisiaj — pomimo przemożnego jeszcze wpływu koteryi możnowładnej — nikt chyba nie zaprzeczy, że prąd ten zdołał ogarnąć najszersze warstwy ludności mieszczańskiej, która stanowczo zaczyna dobijać się praw przewództwa w polityce krajowej.

Prąd ten jednak nie zdołał przeniknąć do warstw dalszych, musnąwszy zaledwie po wierzchu — ludność wieśniaczą. Ogromna większość ludności galicyjskiej, posiada odrębne swoje potrzeby ekonomiczne i wytęża działalność swoję w zupełnie innym kierunku, aniżeli politycznie „uprawnione“ mieszczaństwo. Postulat powszechnego głosowania jest tylko środkiem do celu — a celem tym dobitne zróżniczkowanie społeczeństwa i interesów poszczególnych jego warstw.

Wśród ludności wiejskiej dążność ta nie występuje jeszcze na jaw zupełnie wyraźnie. Stronnictwo tak zwanych „ludowców“, nie rozwinęło jeszcze jasnego programu swoich dążeń — bo rozwinąć go nie mogło. Poszczególne jednostki, jak ks. Stojałowski, zabawiając się demagogią w najlepszej zapewne wierze, iż ona doprowadzi do jakiegoś celu, nie zdają sobie sprawy gdzie i jakim jest ów cel niejasny, do którego dążą. Najsilniej wylania się kierunek reprezentowany przez „Związek chłopski“ — a dążący do wytworzenia t. zw. burżuazyi chłopskiej, której długoletnie rządy w krajach skandynawskich nauczyły nas nieco oględniej oceniać pozorne jej zalety.

Najwyraźniejsze i najbardziej zdeklarowane stanowisko zajęły warstwy robotnicze, które rozwinęły sztandar socyalno-demokratyczny.

Długi czas utrzymywało się wśród warstw mieszczańskich w Galicyi przekonania, iż ruch mas robotniczych da się zużytkować dla celów i działalności budzącego się do życia polityczego stanu trzeciego. Sporadyczne objawy niechęci i przeciwieństwa ze strony tych mas kładziono na karb ich niedoświadczenia lub agitacyi, „importowanej z zachodu“. Nawet sfery tzw. inteligencyi mieszczańskiej zapoznawały siłę i samodzielność ruchu robotniczego i do ostatnich niemal dni łudziły się nadzieją pozyskania warstw robotniczych dla swoich dążeń. Ruch robotniczy powstał bowiem w Galicyi tak nagle i rozwinął się tak szybko, że za nim zdołano zrozumieć jego znaczenie i siłę, musiano sobie tłomaczyć jego wzrost wpływami postronnemi i... sztucznemi.

Szybko jednak przekonano się o — omyłce. Agitacya socyalistyczna w Galicyi powstała na gruncie swojskim. Najlepszym tego dowodem — patryotyczny, szowinistyczny niemal charakter, jaki agitacya ta miała w latach siedmdziesiątych i ośmdziesiątych, w którym to czasie szersza publiczność galicyjska po raz pierwszy miała sposobność zaznajomienia się z dążnościami socyalistów, dzięki kilku głośnym procesom sądowym. Początki te miały cechę konspiratorską. Były to porywy młodych entuzyastów, pozbawione realnej podstawy i nie zdolne poruszyć szerszych warstw ludności. Działalność socyalistów polskich, którzy wówczas rekrutowali się prawie wyłącznie z pośród młodzieży szkół wyższych, z pochodzenia mieszczańskiego, polegało na czysto teoretycznem rozszerzaniu zasad socyalizmu. Założony we Lwowie w r. 1878 dwutygodnik „Praca“ figurował wprawdzie jako organ robotniczy, lecz w rzeczywistości był on organem młodych teoretyków socyalistycznych i na rozwój ruchu robotniczego nie wywarł silniejszego wpływu.

Dopiero z końcem dziewiątej dziesiątki bieżącego stulecia idea socyalistyczna zaczyna znajdować zwolenników wśród warstwy robotniczej.

Zwrot ten stanowczy ruchu robotniczego przypada na chwilę założenia pisma p. t. „Robotnik“, którego numer pierwszy ukazał się dnia 1 marca 1890 we Lwowie. Dzień ten można nazwać dniem urodzin socyalizmu galicyjskiego.

Pierwszym objawem jego istnienia był obchód święta robotniczego, urządzony we Lwowie dnia 1 maja 1890 roku przez zwolenników idei socyalistycznej, którzy zadokumentowawszy w ten sposób solidarną łączność swoją z socyalną demokracyą niemiecką, zawiązali się w kilka miesięcy potem dnia 15 listopada 1890 w oficyalną „partyą robotniczą socyalnodemokratyczną“.

Program nowej partyi opierał się całkowicie na programie socyalnej demokracyi niemieckiej, uchwalonym na zjeździe hainfeldzkim. Zaznaczono w nim, iż celem partyi galicyjskiej jest: „rozszerzyć zasady socyalno-demokratyczne w najszerszych kołach świata robotniczego i zbudzić masy robotnicze do życia, przyczem z naciskiem podniesiono potrzebę silnej organizacyi i łączności z socyalną demokracyą niemiecką, angielską i francuzką.

Do urzeczywistnienia tego programu zabrano się niezwłocznie. Agitacya prowadzona za pomocą zwoływania zgromadzeń ludowych, na których omawiano kwestye powszechnego głosowania, ośmiogodzinnego dnia pracy, wolności słowa, stowarzyszeń i zebrań etc. jednała partyi coraz większe koła zwolenników. Rzucono się do zakładania stowarzyszeń zawodowych i zapomogowo kształcących i kraj cały pokryto siecią doskonale zorganizowanych stowarzyszeń robotniczych „Siła“, które skupiły około siebie olbrzymią większość ludności robotniczej.

Święto majowe, obchodzone w roku 1891 w którem wzięło udział kilka tysięcy robotników, przekonało wszystkich, iż socyalizm znalazł grunt urodzajny w Galicyi.

Zabiegi władzy około udaremnienia dalszej agitacyi — spełzły na niczem. Zawieszone we Lwowie wydawnictwo „Robotnika“ przeniesiono do Wiednia, skąd pismo to rozchodziło się po kraju w zdwojonej liczbie egzemplarzy, aż w końcu ponownie zaczęło się drukować we Lwowie.

Działalność partyi lwowskiej rozszerzona na kraj cały wywołała także żywy ruch między robotnikami w Krakowie, gdzie w styczniu 1892 r. rozpoczęto wydawać czasopismo „Naprzód“. Kongres partyi socyalnodemokratycznej austryackiej w Wiedniu między członków swoich liczył także sześciu delegatów ze Lwowa, Krakowa i Nowego Sącza. Na międzynarodowym kongresie socyalistycznym w Brukseli w r. 1891 utworzyli delegaci socyalistów polskich z pod trzech zaborów jednę wspólną delegacyę polską „w interesie rozwoju socyalizmu w Polsce i w interesie międzynarodowej polityki socyalistycznej“. (Rapport de la délégation polonaise présenté au congrès international de Bruxelles en 1891). „Kongres brukselski był pierwszym krokiem do rzeczywistego porozumienia się socyalistów polskich z pod wszystkich trzech zaborów„.

W obec tych widomych oznak rozwoju partyi socyalistycznej w Galicyi — zapragnęli przy-

wódzcy ruchu obliczyć się z siłami i rezultatami działalności, oraz wytknąć plan wspólnej pracy. W tym celu zwołano pierwszy zjazd galicyjskiej socyalnej demokracyi na 31 stycznia 1893 do Lwowa. W zjeździe wzięło udział 47 delegatów z 12 miejscowości, a mianowicie: Lwowa, Krakowa, Tarnowa, Nowego Sącza, Stanisławowa, Stryja, Białej, Kolomyi, Cieszyna, Czerlan, Podgórza i Borysławia. Między delegatami z Krakowa znajdowali się dwaj reprezentanci młodzieży akademickiej. Obrady toczyły się przez trzy dni nad sprawami dotyczącemi bezpośrednio partyi. Porządek obrad wyczerpał kwestye organizacyi, prasy, taktyki i ustawodawstwa ochronnego dla robotników. Zaznaczono wyraźnie stanowisko partyi w obec kwestyi żydowskiej i ruskiej, oraz w obec chłopów, jako stanowisko *walki klas*, w której socyaliści mają prowadzić politykę samodzielną. Uchwalono przedłożyć na ogólnym kongresie austryackiej demokracyi socyalnej wniosek o utworzenie instytucyi mężów zaufania, którzy mieliby kierować i zarządzać sprawami partyi. Wniosek ten kongres wiedeński w r. 1892 uchwalił, przyjąwszy podział partyi na grupy, według obszarów językowych. W sprawie żydowskiej uchwalono: „Jest obowiązkiem towarzyszy i organizacyi partyjnych, starać się usilnie o wzbudzenie i popieranie politycznej walki klasowej wśród żydów. Partya uznaje wszelkie inne środki rozwiązania „kwestyi żydowskiej za obojętne dla niej i widzi w organizowaniu się i uświadomieniu politycznem proleteryatu żydowskiego jedyną skuteczną drogę do wyzwolenia tegoż proleteryatu.“

Pisma „Robotnik“, „Pracę“ i „Naprzód“ uznano za organa oficyalne partyi i uchwalono rozpocząć wydawnictwo organu żargonowego dla robotników żydowskich p. t. „Der Arbeiter“. Na miejsce „Pracy“, której redaktor przeszedł potem do obozu t. zw. niezawisłych i wykluczonym został z partyi socyalnodemokratycznej założono dwutygodnik „Siłę“.

Zjazd lwowski przyczynił się ogromnie do wzmożenia się wpływów partyi socyalnodemokratycznej. Zwołany w roku 1892 do Lwowa „Wiec kobiet“ pozostawał pod niezaprzeczonym jej wpływem. Silna organizacya partyi umożliwiła urządzenie strejku robotników żydowskich w Kołomyi (tkaczy), który pochłonął 900 złr. w. a.

Rok 1893 rozpoczął się od ciągłych i srogich prześladowań, których ofiarą padały wybitniejsze jednostki w partyi. W miejsce zawieszonych przez władze policyjne pism „Robotnik“ i „Siła“ rozpoczęto wydawać „Nowego Robotnika“; na miejsce aresztowanych agitatorów zjawiały się całe legiony zapalonych ochotników i działalność partyi nie ustawała ani na chwilę. Pomyślnie dla podsądnych zakończone procesy socyalistyczne przyczyniały się znakomicie do rozszerzenia rozciągłości partyi; kongres zwołany do Krakowa na 25 i 27 marca odbył się mimo zakazu i rozwiązania przez policyą, a święto robotnicze 1go maja wypadło jeszcze okazalej niż za lat poprzednich. Nadzwyczajną wytrwałością i solidarnością zdołali socyaliści galicyjscy przekonać władzę, iż represaliami zgnieść się nie dadzą.

Groźniejszym zdawało się być szkopułem dla partyi opozycya t. zw. niezawisłych we Lwowie, którym taktyka partyi socyalnodemokratycznej zdała się być „wyzutą z wszelkiej rewolucyjności“, a organizacya wsteczną i filisterską. Atoli i tę przeszkodę usunęła partya zwycięsko, zdoławszy zatrzymać przy sobie robotników żydowskich, którzy stanowili główną siłę „niezawisłych“, pozbawiwszy ich w ten sposób szerszego oparcia.

Do walki z socyalistami wystąpili w Krakowie Jezuici, którzy na zgromadzeniach robotniczych zabierali głos i dyskutowali z prowodyrami socyalistycznymi. Walka ta zainteresowała szerokie koła publiczności, zaznajamiając ją bliżej z postulatami socyalizmu.

Ruch cały zaczynał nabierać szerszych podstaw. Strejki zakończane zwycięztwem robotników wzmocniły solidarność partyjną. Udział w kongresach partyi zagranicznych wzmacniał węzły, łączące z niemi partyą galicyjską, która organizacyę swoją rozszerzyła na Śląsk i Bukowinę, znajdując wszędzie grunt podatny dla siebie.

Kongres zurychski, odbyty w dniach 6-12 1893 sierpnia tę dał socyalistom polskim sposobność zaznaczania stanowiska swojego w obec mocarstw zaborczych w oświadczeniu, iż odzyskanie niepodległości narodowej jest postulatem socyalizmu polskiego.

Najsilniej poruszył atoli partyę galicyjską, podobnież jak całą partyę socyalno-demokratyczną w Austryi, projekt reformy wyborczej Taaffego. Na kongresie ogólno austryackim odbytym w Wiedniu w dniach 24—31 marca 1894 reprezentowało Galicyę pięciu delegatów, którzy głosowali z większością za przyjęciem rezolucyi, grożącej urządzeniem „strejku masowego“ na wypadek, gdyby nie zaprowadzono powszechnego prawa wyborczego dla klasy robotniczej. Na kongresie tym wystąpili też delegaci galicyjscy z ostrą krytyką postępowania władz rządowych w Galicyi, prześladujących wszystkich zwolenników partyi i wykazali przy tem, że prześladowania te zamiast osłabić wzmacniają energię socyalistów galicyjskich. Dowodem tego był istotnie wzrost liczby stowarzyszeń socyalistycznych.

Hasło reformy wyborczej stało się odtąd główną dewizą agitacyjną dla socyalnej demokracyi austryackiej w ogóle, a galicyjskiej w szczególności. Ruchliwa działalność partyi galicyjskiej nie ogranicza się na zwoływaniu częstych zgromadzeń, na których rozstrząsanem bywa położenie i uprawnienie polityczne ludności robotniczej w Austryi. Demonstracye urządzane „na cześć“ powszechnego prawa wyborczego przybierają nierzadko imponujące rozmiary; a niezłomna wytrwałość w ich urządzaniu odbiera władzom broń przeciwko rządzącym. Krwawe starcie między robotnikami, a policyą do którego doszło dnia 14 października 1894 roku w Krakowie nie wpłynęło bynajmniej uspakajająco na masy, które jak dotąd tak i nadal urządzają pochody zarówno w Krakowie, jak i we Lwowie i po innych miastach galicyjskich.

Pod hasłem wywalczenia prawa wyborczego jednoczy się partya socyalnodemokratyczna w Galicyi z partyą ludową i drobno mieszczaństwem, a walka ta o prawo głosowania przybierając coraz szersze rozmiary, przyczynia się zarazem do coraz większego rozwoju partyi.

Od stycznia 1895 posiada partya socyalnodemokratyczna w Galicyi cztery organa swoje, a mianowicie: tygodnik „Naprzód“ w Krakowie, redagowany bardzo starannie i umiejętnie, wychodzące 3 razy na miesiąc pismo „Nowy Robotnik“, dwutygodnik żargonowy „Arbeiter“ i miesięcznik naukowy „Światło“ we Lwowie. Nadto może się galicyjska partya socyalno-demokratyczna wykazać już całym szeregiem broszur, rozpraw i utworów beletrystycznych, wydawanych w znacznej liczbie egzemplarzy i rozchodzących się szybko pomiędzy ludnością robotniczą. Znajdują się pomiędzy niemi prace dotyczące zarówno spraw ekonomicznych, jak i literatury i sztuki, co bądź, co bądź, świadczy o pewnym wyższym poziomie umysłowym rzeszy robotniczej, zaliczającej się do partyi socyalno-demokratycznej w Galicyi.

W obec tego dziwną wydaje się obojętność, z jaką ogół dziennikarstwa galicyjskiego odnosi się do ruchu, ogarniającego szerokie koła ludności. Sądząc po artykułach, zjawiających się tu i owdzie w pismach galicyjskich, zdawaćby się mogło, iż socyalni demokraci galicyjscy są garstką niezorganizowanych marzycieli, z którymi liczyć się ani potrzeba, ani... wypada.

Wyjątek pod tym względem stanowią jedynie organa jezuitów t. j. wychodzący w Krakowie „Przegląd powszechny“ i lwowska „Gazeta kościelna“, którym przyznać należy, iż z pewną znajomością rzeczy zapatrują się na rozwój socyalnego ruchu w Galicyi i *ze swego stanowiska* słusznie go oceniają. Artykuły o socyalizmie galicyjskim, pomieszczane w obu tych pismach posłużyć mogą — po oczyszczeniu ich z naleciałości tendencyjnych — za źródło informacyi dla przyszłego badacza stosunków robotniczych galicyjskich; pisarze bowiem jezuiccy umieją szeregować fakta, nadając im jedynie niewłaściwą barwę.

W szkicu powyższym, opartym na materyale zebranym w ciągu kilku lat galicyjskich ruchów robotniczych, starałem się *sino ira et studio* przedstawić rozwój idei socyalistycznej w Galicyi w najogólniejszych zarysach, w nadziei, iż to może sprostuje niejedną mylną lub przesadzoną wiadomość kolportowaną o ruchu robotniczym w Galicyi przez pewne dzienniki i pisma i przyczyni się do zrozumienia właściwych jego dążeń.

Dla tych, którym nieobojętną jest sprawa rozwoju społecznego Galicyi — szkic ten posłuży może za zachętę do bliższego zapoznania się ze stosunkami, wśród których ruch robotniczy mógł tak szybko i tak potężnie się rozwinąć na swojskim gruncie.

Dr. Ignacy Suesser.

KRONIKA BERLINSKA.

D. 1 kwietnia.

(*Farsy bez końca. — Kobiety w uniwersytecie.*)

Na domach powiewają liczne chorągwie, na dachach palą się czerwone pochodnie, w oknach jarzą się tysiące świateł, tłum nieprzeliczony pieszo i w powozach snuje się po ulicy, rozradowany, rozbawiony, wesoły i szczęśliwy, w wystawach sklepów tysiączne popiersia i podobizny bohatera dnia, — to rocznica ośmdziesięcioletnich urodzin Bismarka. Tryumfator powinienby we własnym interesie wkrótce oczy zamknąć lub zupełnie usunąć się z widowni, bo jakże mu przykro będzie przeżyć własną sławę! A jednak to nastąpić musi! Marx w jednej z historycznych swych rozprawek (Napoleon II) powiada, że wszelkie wypadki dziejowe powtarzają się dwa razy: pierwszy raz są poważnem zdarzeniem, drugi farsą. Trudno nie dojrzeć farsy w tej apoteozie bezsilnego starca, który nie występuje jako wspomnienie i przeszłość szronem pokryta, ale jako znów do życia powołany przedstawiciel militarnych ideałów niemieckich. Cesarz pozdrawiał go jako bohatera wojskowego, ludność widzi w nim przedstawiciela i założyciela potęgi i siły państwowej, ale trzeźwo patrzący obserwator dojrzy w tem przedewszystkiem brak ideałów nowych i nowych ludzi, którzyby entuzyazm wzbudzali. Istotnie dzisiejszy rząd wziął sobie za zadanie odbudować wszystko, co przed laty kilku obalał, a więc pozbawiwszy Bismarka władzy, apoteozuje nietylko jego osobę, ale jego program, ideały społeczne, dążności. Zniósłszy na początku panowania wyjątkowe prawa przeciw socyalistom, dziś ten sam rząd forsuje przeprowadzenie antyanarchicznej ustawy, która tem różnić się będzie od pierwszej, że wyjątek uczyni regułą, zamiast prześladować jedną partyę polityczną, smagać będzie biczem ciężkiej odpowiedzialności sądowej wszystkich, którzy jakiekolwiek dążenie do swobody, postępu i zmiany wykażą. To istotnie farsa, ale farsa o tragicznym zakroju. Na farsę zakrawa owo piętnowanie parlamentu dla tego, że urzędownie do owacyi dla Bismarka przyłączyć się nie chciał, na farsę również, gdy „Staatsanzeiger“ grozi, że owo ciało, przedstawiające naród, zamkniętem być powinno, skoro tak niewdzięcznem i — dodajmy — opornem dla woli sfer wyższych się okazało, na farsę wreszcie, gdy jeden prezydent (von Levetzow) widzi się zmuszonym do ustąpienia ze stanowiska z powodu, że upadł jego wniosek uczczenia Bismarka, a drugi (von Buol), członek opozycyi, otrzymuje urzędowe zaproszenie na obiad wydawany w tym celu. Tragedyą jest przecież, gdy lud porwać się daje owej apoteozie brutalnej siły, gdy większość prasy staje po stronie rządu, gdy podnoszą się poważne i światłe głosy za antyanarchiczną ustawą, gdy ona dziś ma wszelkie prawdopodobieństwo przejścia.

I to wszystko w Berlinie, w tym Berlinie, który tak samo chce być sercem i mózgiem czterdziestomilionowego państwa, jak Paryż jest centrem życia Francyi. Ale Paryż powstał tradycyą ruchów, a więc i życia ludowego, świadczy o tem każdy plac, każda ulica, każdy niemal pomnik, tymczasem Berlin — to obszerne ko-

szary wojskowe, które ideały swobody, sztuki, wiedzy poddają pod strychulec militaryzmu.

Do tej niemiłej ilustracyi wstecznictwa dodam słów parę więcej pocieszających. Kobiety tutajsze wywalczają sobie po trochu prawo studyów uniwersyteckich. Obecnie przyjmowane być mogą jako hospitantki na mocy specyalnego pozwolenia rektora, wykładających profesorów i ministra. Jest to wyjątek, ale wyjątek zrobiony już dla sześciu, a trudno nie przewidywać, że wkrótce otrzymają pozwolenie imatrykulowania się wraz z prawami rzeczywistych studentek. Po bibliotekach pracuje też ich kilka; w t. zw. Humboldt-Akademie, o której innym razem, wykłada jedna docentka Dr. Agnieszka Blum, której kurs hygieny kobiet taką cieszył się popularnością, że go w dwóch częściach miasta powtarzać musiała.

S. Z. D.

Z estrady i sceny.

(*Harde dusze. Sztuka w 5 aktach Zygmunta Sarneckiego*).

Nie lubię dramatyzowanych powieści, bo w literaturze swojskiej i obcej mało znam utworów, w których z nowellistycznego materyału udało się zbudować prawidłowe rusztowanie sceniczne. Epiczne żywioły powieściowej twórczości, swoboda w cieniowaniu najzawilszych typów, szeroka dziedzina epizodyczności, autorskie „ja“ ciceronujące w galeryi bohaterów i krętych krużgankach stosunków, — wszysto to wita autora dramatycznego jakiemś donośnem „*Noli me tangere*“. Z odmiennych warunków tworzenia wynika odmienność tematów i zawikłań. Myśl autora dramatycznego i myśl powieściopisarza w innym pracują kierunku, inaczej nastroić, szukać i rozwijać się muszą. Powieść i dramat, to dwie odrębne atmosfery, i rzadko tylko kwiat, co życiem bujnem i pełnem w pierwszej zakwita, zachowa barwę i zapach, gdy ręka ogrodnika w obce przeniesie go strony. W dolinach Szyrazu wdzięczą się róże szkarłatne, lecz gdy je wydrzesz z słonecznych nizin i na wysokie, groźne urwiska przesadzisz, zwiędną niebogie.

Powiedziałem, że znam mało udramatyzowanych powieści, które w scenicznej transkrypcyi wznoszą się na wyżyny artyzmu. Może „Właściciel Kuźnic“, może „Sprawa Clémenceau“ stanowią szczęśliwy wyjątek, ale po za tem sterczy szary tłum nikłych jednodniówek, — całe kolekcye figur przybranych w za długie, za obszerne szaty, lub wątłych ułamków żywych postaci i stosunków. Cóż pozostało w dramatycznej metamorfuzie z cyklu romansów historycznych Sienkiewicza? Kilka niezręcznie zlutowanych obrazków, kilka dowcipów wielkiego mistrza, kilka okruszyn z wspaniałej biesiady, którą zgotował czytelnikom największy talent bieżącej literatury polskiej. Tylko z uczuciem niesmaku i żalu spoglądało się na *torso* pierwszorzędnych utworów powieściowych, — na tego amputowanego i w gorset sceneryi wciśniętego Sienkiewicza.

Nie myślę bynajmniej łączyć znakiem równania owych smutnej pamięci bomb teatralnych z najświeższą pracą p. *Sarneckiego*, osnutą według powieści Orzeszkowej p. t. „*Bene nati*“. Sarnecki nie jest pospolitym fabrykantem, chwytającym w lot głośniejsze romanse, by niemi uszczęśliwić scenę i na tantyemy autorskie przetopić.

Silniejszego indywidualizmu nie ma w krakowskim pisarzu i nie ma w nim talentu o dyamentowym blasku i czystosci, ale w utworach jego przebija bądź co bądź czucie poetyczne i zdolność artystycznej inwencyi. Technika natomiast stanowi często Achillesową piętę kreacyi galicyjskiego autora, lubo długoletnia rutyna jego i zażyłe stosunki z sceną uprawniać by mogły poniekąd do przeciwnych przypuszczeń. W „Hardych duszach“ szukałem napróżno wirtuoza formy i żałowałem szczerze, że niebieski ołówek pana reżysera spoczywał nieruchomie w kieszeni surduta, zamiast spacerować po długich alejach manuskryptu smucąc autora, lecz ratując sztukę. Jakaż to n. p. śliczna scena, gdy Aurelka z jękiem boleści klęka przed obrazem Matki Boskiej, a w koło cisza nocna i tylko jęk, ten jęk wielki słychać. Gdyby kurtyna zapadła w tej chwili, płakałaby jeszcze długo w duszach słuchaczy melodya bólu, lecz cóż? autor wprowadza ojca ze świecą i długi niepotrzebny dyalog, który płoszy poezyą i psuje wrażenie. Ołówek reżyserski przydałby się również w rodzajowych scenach aktu drugiego i czwartego. Tu uwydatniają się jaskrawo powieściowe żywioły sobotniej premiery, — najpiękniejsze stronnice *Orzeszkowej* wiodą na manowce p. *Sarneckiego*. Krakowski autor rozkochał się w cudownej epice powieści i przeniósł ją żywcem na scenę, ale ta epika staje się kajdanami akcyi, mimo oryginalnej, nieznanej w literaturze dramatycznej, atmosfery szlacheckiej zagrody. Nie wykluczam bynajmniej z sztuki dramatycznej obrazowego *genre*, ale lękam się, gdy ręka drugorzędnych techników rzuca go na kanwy sceniczne, — lękam się balastu ornamentyki, psującej fasadę utworu.

Z większem powodzeniem odbyło się przeniesienie bohaterów Orzeszkowej w świat kulis i kinkietów. Utraciły one mało na wewnętrznej prawdzie i nie rozpływają się w kształtach zamglonych. Jeden może *Chutko*, „cham“ inteligentny, co bez autonatów ujrzał świat ten boży i zdobywszy uczciwą pracą urząd leśniczego w dobrach książęcych, nie wstydzi się chłopskich rodziców, — nieco szablonowo o przytępionych konturach snuje się po scenie. A przecież ta postać piękną jest w powieści i tak żywą, tak krwi i siły pełną, że należało ją starannie indywidualizować i na pierwszy plan wyprowadzić. I trochę suchy jest ów Gabryś zadumany, co róże sadzi, gołębie chowa i na skrzypkach grywa. Tak mi poezya tej prześlicznej postaci zbladła w scenicznej przeróbce, tak mi te skrzypki przycichły i róże opadły...

Lecz za to z uczuciem artystycznego zadowolenia spoglądałem na głowę rodu *Osipowiczów*, — na twardego przedstawiciela szaraczkowej drużyny szlacheckiej. Jakaś ciasna zaciętość i pycha, jakieś połączenie chłopskiego utylitaryzmu z szlachecką dobrodusznością wionęło ku mnie i rozwidniło mi duszę tej ginącej zagrody, ostatnich szczątków wielkiej niegdyś kasty, przechowującej w coraz ciaśniejszem kółku dawne typy, charakter, zwyczaje i przesądy. Udało się panu Sarneckiemu stworzyć atmosferę szaraczkowych zaścianków, lubo, powtarzam raz jeszcze, obfitością nużących szczegółów, obniżył dramatyczną wartość utworu.

Równe zalety posiada szlachecka strzecha *Kuleszy*, reprezentanta szlachty postępowej, który w herbowej koronie nie upatruje wartomierza człowieka i z tradycyi dziejowej przechował serce, ciepło domowego ogniska i honor, nie zatarasowawszy bram swego domu przed duchem czasu. Pokutują tam jeszcze dawne przesądy, w sercu starej, ograniczonej szlachcianki, — świetnego typu głupiej, potulnej, pracowitej gospodyni, lecz królem wiejskiego dworku jest sam Kulesza, rozumny, uczciwy ziemianin... W rysunku tej właśnie postaci święci artyzm pana Sarneckiego tryumf prawdziwy, bo zapożyczył on z powieści Orzeszkowej najwłaściwsze, najcharakterystyczniejsze znamiona i odsłonił bez nadmiaru drobiazgów duszę bohatera swojego do głębi. Gdy sędziwy Kulesza w subtelnem zrozumieniu duszy ludzkiej, tulić się nie stara rozgoryczonego Chutki zdawkową pociechą i z słowem perswazyi czeka spokojnie aż ból pierwszy minie, — gdy głupotę i beztakt małżonki swojej leczy sztuczną groźbą rozwodu, — gdy potem „chamowi“ rękę własnej ofiaruje córki, — to cały człowiek staje tam na scenie, żywy i przejrzysty. I jakaś serdeczna poezya roztacza skrzydła białe nad tą cichą strzechą, — słychać ją w niemej skardze i modlitwie Aurelki, — słychać ją w szczebiocie figlarnej trzpiotki, która fruwa jak ptak po scenie, a gdy modre oczęta zamruży, śni o strasznych dziwach i potworach. Główna bohaterka dramatu, Salusia Osipowiczówna, wywiera wrażenie czegoś niedopowiedzianego, jakiegoś szkicu, któremu barw i cieni potrzeba do bujnego życia. Mimo to jednak wieje z tej postaci, targającej żelazne pręty klatki rodzinnej, jakiś wielki indywidualizm i wielka tragedya duszy. Żal mi tylko, że autor wbrew orginałowi, zamienia ją w „Halkę“ Moniuszki i topi w dzień ślubu pod oknami kochanka. Jest w tem zakończeniu „Hardych dusz“ szablon widoczny i brak nieco prawdy sytuacyjnej. Szkoda zaiste, że „Gabryś“ Sarneckiego nie słucha podszeptów Elizy Orzeszkowej, szkoda, że w stanowczej chwili nie bierze na ręce ukochanej dziewczyny i nie zanosi jej do cichego domku, gdzie róże woń sączą, gołębie gruchają i skrzypki dźwięczą tak smutnie...

Wystawa sobotniej premiery odznaczała się rażącym brakiem staranności. Nie chcę rozstrzygać, czy istotne niedbalstwo, czy fałszywe pojęcie utworu spowodowało to niestósowne urządzenie sceny i błędną charakterystykę niektórych typów, — stwierdzam tylko fakt, że zatarto zewnętrzne znamiona zaścianka i nie odgraniczono dostatecznie dwóch światów: dworu i zagrody. Niepewność w zbiorowych sytuacyach i rozpaczliwe wysiłki suflera przestały już razić publiczność poznańską, bo oko i ucho przywykło do karykatury — chronicznej.

Z artystów występujących należą się wyrazy gorącego uznania p. *Skirmuntowi* w roli *Konstantego Osipowicza*. Była to postać mistrzowska pod względem zewnętrznej i wewnętrznej prawdy, — rozumnie pojęta, wycieniowana starannie i konsekwentnie przeprowadzona. Gra panny *Wróblewskiej* w roli Salusi i pani *Majdrowiczowej* w roli Aurelki zalecała się szeregiem szczęśliwych momentów, a pierwsza mianowicie w tragicznej walce z rodziną rozwinęła wiele szczerości i siły. Tylko w przedśmiertnej scenie grał mi znowu w uszach ten dźwięk fałszywego uczucia... Kończąc pobieżną ocenę, zapisuję jeszcze nazwisko panny *Zimajer*, rozszczebiotanej i w żywe srebro przetopionej trzpiotki, — pana *Trapszy*, zdobywającego sobie nowe wawrzyny w charakterystyce o poważnym stylu i — pani *Królikowskiej* oraz *Trapszowej*, które wniknęły w intencye autora i rysy właściwe dla typów swoich znalazły. Pan *Sosnowski* w roli Chutki nie uwydatnił twardych akcentów chamskiego dziecka, a pan *Rapacki* skąpał postać Cydzika w atmosferze farsowej. Śliczną natomiast parę całujących się bezustannie małżonków stworzyli p. *Knapczyński* i pani *Jakubowska*. Rola nie trudna, zadanie rozkoszne!

Władysław Rabski.

Koncert

filharmonijnego Towarzystwa w Poznaniu na sali Lamberta dnia 28 marca rb.

W poznańskiem życiu muzycznem ważne zajmuje miejsce Towarzystwo filharmonijne, założone przed kilku laty przez prawdziwych miłośników muzyki, a pozostające dotąd pod sprężystą dyrekcyą prof. Henniga. Początkowo posiadało Towarzystwo własną orkiestrę, złożoną z wybitnych amatorów poznańskich i dzielniejszych sił tutajszych kapeli wojskowych. Orkiestra ta występowała po kilka razy z powodzeniem w koncertach, urządzonych staraniem Towarzystwa, jak również w połączeniu z chórami Towarzystwa śpiewu pod dyrekcyą prof. Henniga, stawiając sobie za zadanie zapoznanie publiczności naszego grodu z wybitnemi utworami tak orkiestrowej jak i wokalno-instrumentalnej literatury. Później z powodu różnych nieporozumień i trudności technicznych widział się dyrygent zmuszony orkiestrę rozwiązać i w miejsce to zaangażować orkiestrę koncertową z Wrocławia. Ale działalność i zadanie Towarzystwa nie ograniczało się jedynie na zapoznawaniu lubowników muzyki z literaturą orkiestrową, ile raczej z muzyką kameralną, tak mało jeszcze u nas uprawianą. By temu zadaniu sprostać, angażuje Towarzystwo wybitne zamiejscowe stowarzyszenia kameralne. W ostatnim koncercie usłyszeliśmy więc dzielne *Trio*: *Jedliczka - Zajic - Grünfeld*. Dwóch ostatnich artystów znałem z przeszłorocznego występu w Poznaniu, za to pianista Dr. Jedliczka był dla Poznania „homo novus“. Sympatyczne wrażenie wywarła gra tego artysty na mnie. Powaga i spokój, z jakim przeprowa-

dził wybitną swą partyę w Trio es-dur Schuberta, świadczyło wymownie o wysokich wrodzonych zdolnościach i gruntownych studyach artysty. Kompozycya, grzesząca przy wielkiem bogactwie cudnych melodyj, z któremi autorowi samemu trudno się rozstać, rozwlekłością pojedyńczych części, wymaga nadzwyczaj ożywionej i barwnej interpretacyi, jeśli nie ma słuchaczy nużyć.

Temi zaletami odznaczało się też wykonanie Tria; wszędzie panowała nadto rzadka zgodność i karność, świadcząca o zgraniu się należytem pojedyńczych wykonawców. Główny temat w Andante wyśpiewała wiolonczela z całą rzewnością właściwą temu instrumentowi. Na tle tego tematu potęguje się ekspresya stopniowo do iście dramatycznych akcentów i rozbrzmiewa potęgą orkiestrowych efektów, nie przekraczając nigdy granic piękna. Pełne życia i humoru Scherzo odegrali artyści z wszelką finezyą i werwą a wykonanie pierwszej części utworu, rozlewającej się szeroko, głęboka liryka we wszystkich głosach, mimo niezwykłej długości, trzymało uwągę słuchaczy do ostatniej nuty na uwięzi. Po ukończeniu świetnego Finale grzmiącemi oklaskami i wywoływaniami dziękowali słuchacze za dzielną reprodukcyą pięknego utworu. Solo wykonał p. Jedliczka 2 preludya Chopina: c-moll i des-dur i X Rapsodyę Liszta. Uderzenie posiada artysta jędrne a śpiewne, w grze rozdzielone wszędzie światło i cienie umiejętnie, pasaże tryskają życiem a wszystko to tak harmonijnie wykończone, całość tak zaokrąglona i niewymuszona, wszędzie tak zachowana miara w ekspresyi, że produkcye pianisty na niejednego słuchacza, gustującego więcej w erupcyjnych wylewach uczucia, niż w miarowem rozwijaniu się, robią może wrażenie akademickich studyi. Szlachetna, pełna umiarkowania i wysokiej inteligencyi gra p. Jedliczka i ta, dla mnie nadzwyczaj sympatyczna powaga, powstająca wprost z traktowania sztuki na seryo, podbija jednak od razu uważnego i nie uprzedzonego słuchacza, pozostawiając trwałe wrażenie. Skrzypek-solista p. Florian Zajic odegrał sławną Ciaccone Bacha. Utwór pisany na skrzypce same, we formie waryacyi na temat staroświeckiego tańca, jest nieprześcignionym wzorem polifonicznych kombinacyi, które swą genialną pomysłowością i polotem pełnym swobody w podziw każdego wprowadzić muszą.

Niewyczerpane bogactwo różnych figur, fantastycznie powiązanych, arpedżyi, efektów polifonicznych, gdzie melodya, jak nić czerwona wije się między akordami głównego tematu, wymaga skończonego mistrza we władaniu smyczkiem, jeżeli te prawdziwe łamigłówki gry skrzypcowej jasno z pod smyczka wyjść i do słuchacza zrozumiale przemówić mają. Ogólne brawo oczarowanych do najwyższego stopnia słuchaczy, jakiem obdarzyli artystę po wykonaniu Ciaccony najlepiej świadczy o wysokiem mistrzostwie gry jego na skrzypcach. Jeżeli tu z przyjemnością podnieść muszę nadto pojęcie i wykonanie Ciaccony Bacha wiernie w duchu autora, to brak właśnie stylu we wykonaniu Aryi tegoż kompozytora na wiolonczeli przez p. Grünfelda raził estetycznie wykształconego muzyka. P. Grünfeld przedstawił nam Bacha we fraku i białym krawacie, zwykłego salonowca wychowanego w chorobliwej atmosferze naszych buduarów. Powagi i tej zdrowej prostoty, która i z najmniejszego utworu wielkiego niemieckiego organisty-kompozytora bije, nie czułeś! Nie znalazłem też różnicy w oddaniu sentymentalnego drobiazgu „*Madrigale*“ Simonettiego a pełnej powagi Aryi Bacha. Za to za barwne i pełne werwy wykonanie hiszpańskiego tańca Poppera należy się artyście wszelkie uznanie.

W koncercie wzięła nadto udział śpiewaczka p. Jadwiga Bernhardt i wykonała kilka pieśni: Schuberta, Brahmsa, d'Alberta i innych autorów; głębszego wrażenia śpiewem swym nie zdołała jednak wywrzeć. Średnica głosu posiada wprawdzie pewną miękkość, niższe za to tony nie mają wystarczającej pełni a wyższym brak zaokrąglenia. Mimo to zaznaczyć muszę, że w niektórych produkcyach, zwłaszcza w utworach o poważnym nastroju były momenta szczęśliwe, z których wnosić wolno, że głos ten w przyszłości przy odpowiednich studyach znacznie się rozwinie i spotęguje, a uczucie, podatniejszy znalazłszy materyał, wyraźniej i silniej do słuchacza przemówi.

Do śpiewu towarzyszył udatnie p. Hache.

Edwin Jahnke.

NA WYŁOMIE.

(*Ks. Laubitz contra prof. Rakowicz. Dyktatura. Kto decyduje? Piękne widoki. Insynuacya. Odczyt p. Puffkego*).

W ostatnich tygodniach rozegrała się w łamach „Kuryera“ i „Przeglądu Poznańskiego“ ciekawa polemika między ks. *Laubitzem* z Inowrocławia, a królewskim budowniczem prof. *Rakowiczem* z Poznania. Spornym przedmiotem była piękna ruina kościoła Panny Maryi w Kujawskich solankach, — imponujący zabytek architektury ubiegłych stuleci, — skamieniałe wspomnienie ojczyzny wolnej i niepodległej. Prowincyonalny Wandalizm zapragnął zniszczyć ten klejnot Inowrocławia, by w miejsce jego zbudować nową świątynię i byłaby tryumfowała ciasna filisterya, przenosząca słodkie oleodruki Martensa lub Thumana nad stare, uszkodzone i zczerniałe arcydzieła mistrzów renesansowych, gdyby rząd *pruski* w obronie *polskiej* nie stanął pamiątki. Pojawił się potem zamiar zużytkowania pewnych części ruiny dla budowy nowego kościoła. a gdy konserwator państwowy i temu zmodyfikowanemu Wandalizmowi odmówił uznania, upatrując w nowym projekcie niemal zupełne zniszczenie ruiny, wystąpił prof. *Rakowicz* z planem naszkicowanym w Nr. 9 „Przeglądu“, a salwującym przed zagładą drogocenny pomnik architektury XII wieku. Plan ten znalazł zapalonego przeciwnika w księdzu *Laubitzu*, fanatycznym szermierzu Wandalizmu naszego, i rozpoczęła się walka interesująca, — polemika charakterystyczna dla stosunków poznańskich. Wierny zadaniu feljetonisty pomijam stronę architektoniczną spornej materyi. nie poczuwając się zresztą do kompetencyi sądzenia projektu prof. *Rakowicza*, lubo historyi sztuki poświęcałem prawdopodobnie więcej czasu i trudów od ks. *Laubitza* i kochając piękno, szukałem go po świecie szerokiem. Mnie interesuje przedewszystkiem strona społeczna i etyczna tej Kuryerowo-Przeglądowej polemiki, — dziwne, znamiennych rysów pełne zapasy, — typowy przyczynek do historyi Księstwa.

Z jednej strony staje do walki fachowy, znany w dziedzinie literatury zawodowej architekt i składa na ołtarzu narodowych pamiątek plon myśli swojej, rezultat długich i poważnych studyów. Z drugiej strony zrywa się do boju młody dyletant, nie mający na usługi swoje ani wiedzy fachowej, ani nawet amatorskiego empiryzmu i uzbrojony w arsenał wolt dyalektycznych i łamańców zręcznych olśniewa fajerwerkami tłum czytelników, — pyszny, krzykliwy, pstry mędrzec kujawski. Naukę, doświadczenie argumentacyą zastępuje tu swada palestry, błyska wice stylu i jakieś sztuczne wydęcie własnej osoby do rozmiarów balonu, a dla zjednania sympatyi *Kuryerowych* czytelników wymachuje się suknią duchowną jako symbolem wszechwiedzy i przeciwstawia nauce powagę kapłańską. Posłuchajcie: „Przy zadaniach architektonicznych, mających służyć celom liturgicznym, ksiądz *w pierwszej linii* ma głos, zawsze doradczy, często *decydujący*.“ Tak mówi ksiądz Laubitz.

Ten „*głos w pierwszej linii*“, głos „*decydujący*“ rozbrzmiewa dzisiaj w wszystkich dziedzinach bytu społecznego, słychać go w polityce, w życiu towarzystw, w instytucyach naukowych, w Kole sejmowem, po wsiach i miasteczkach. Jest pewne stowarzyszenie czeladzi w Poznaniu, gdzie ksiądz pod tym jedynie warunkiem przyjął patronat, że uchwały, zatwierdzone wolą większości, lecz pozbawione *placet* patrona, stracą natychmiast moc obowiązującą. Po cóż więc głosowanie, po cóż forma parlamentaryzmu, jeżeli dyktator zasiada na tronie?!

Zboczyłem z drogi — to przywilej fejletonisty. Wracam do sztuki i nasłuchuję „*głosów w pierwszej linii*“, głosów „*decydujących*“ w architekturze kościelnej. Czarujące melodye! Bo czyż nie czaruje was ten poczciwy, serdeczny proboszcz wioskowy, zatopiony w brewiarzu, uczący dzieci katechizmu, siejący pszenicę i grający w wista, gdy nagle natchniony wskazówkami Kuryerowego polemisty poczuje w sobie geniusz architektury i przy sposobności komenderować zacznie fachowym architektom niby polierem.

— „Cóż tam pan budowniczy plecie mi o stylach, — ja znam się lepiej, bo ja ksiądz. Tu wprost ołtarza pragnę mieć okna wysokie i śpiczaste, jak to w kolońskim albumie widziałem i ładne witraże....“

— „Ależ księże proboszczu, to niepodobna, to zepsuje....“

— „Zepsuje, nie zepsuje. Ja się na tem znam i mam głos „decydujący“. A tu z tyłu postawimy dwie wieżyczki. żeby to suto wyglądało, będą się chłopy dziwować.“

— „Księże dobrodzieju, to w tych warunkach oszpeci....“

— „Ja „w pierwszej linii“ mam głos i „decyduję.“

Jeżeli ziarno rzucone przez ks. Laubitza przyjmie się na urodzajnej glebie ludzkiej zarozumiałości, to dyalogów podobnych doczekamy się może niebawem. Historya nowoczesnej architektury służy w tym względzie mnóstwem charakterystycznych przykładów, a przypominam tylko jeden fakt z dziejów renowacyi kościoła P. Maryi w Krakowie, przypominam owe „stalle“ zbudowane według recepty i komendy biskupa. Fachowa krytyka rzuciła grom potępienia na to chybione dzieło inspiracyi duchownej, które, stanowi poważne „Memento“ dla jutra sztuki kościelnej i mówi głośno, że w każdej architekturze, a więc i w takiej, która służy celom liturgicznym, nie ksiądz, lecz architekt posiada głos „decydujący“ i głos „w pierwszej linii“.

Ponieważ nie jestem architektem, więc nie zarzuci mi chyba ks. Laubitz, że kierują mną nizkie pobudki osobistej natury, — w obec prof. *Rakowicza* jednak nie waha się złożyć wymownego dowodu, że w kapłańskim kałamarzu jego obok chrześcijańskich formułek znajduje się również petarda *insynuacyi*. Broń ta ulubiona rewolwerowych dziennikarzy syczy i strzela w następującym okrzyku: „Chciał widocznie pan budowniczy uwagę społeczeństwa na siebie zwrócić i do usług się polecić“.

A więc nie miłość sztuki, nie kult dziejowych pomników kierowały panem *Rakowiczem*, lecz widoki zarobkowania, nadzieje materyalnych korzyści!! Cóżby powiedział *ks. Laubitz*, gdyby przeciwnik jego, atakowany tak szlachetną bronią, podobnej imał się metody i w następnym artykule ogłosił światu, że wikary inowrocławski jedynie dla tego bije na trwogę z armat i moździeży, bo wie, że *ks. arcybiskup* snuje *inne* plany architektoniczne i za sukurs dzielny gotów wikarego zamienić w proboszcza... Niechaj mi ks. Laubitz wybaczy to gorzkie słowo prawdy, ale padałem sam tyle razy ofiarą najpotworniejszych insynuacyi i tyle razy widziałem ludzi o wielkiem i gorącem sercu, zbryzganych błotem ubliżających podejrzeń, ściągniętych w proch z wyżyn najdonioślejszych, zniecheconych ludzką potwarzą w pracy dla bliźnich i ojczyzny, że metoda walki, przez niego obrana, w żółć mój atrament zamienia.

Głośny dyletantyzm, deklamujący obecnie w artykułach ks. Laubitza, krzewi się tak bujnie w społeczeństwie naszem, że głos rzeczywistej i głębszej nauki jest prawdziwą niespodzianką w tej ciasnej, jałowej i smutnej krainie. To też z radością nurka znajdującego wśród mnóstwa pospolitych ślimaków nareszcie muszlę perłową, powitałem wtorkowy odczyt p. *Kazimierza Puffkego*. Prelegent mówił „o kobiecie w dramacie współczesnym“, a słowa jego cechowała nietylko wiedza istotna, lecz to głębokie zrozumienie prądów nowożytnych, które dla Poznania są księgą kabalistyczną lub przeklętym trądem. P. Puffke nie majaczył po dyletancku i nie przeklinał. Uchylił czoła przed potęgą Ibsena, nie lękając się Kuryerowego „anathema“, skruszył kopię za równouprawnieniem kobiet, nie bojąc się strzałów całego legionu „stróżów tradycyi“, a gdy

„święte oburzenie“ rozpłomieniło gwardye wstecznikόw, rzucił im słowo Augiera: „Prądy nie błądzą nigdy, a zatapiają głupców, którzy siłą się na zatamowanie ich biegu“.

Wśród dusznej atmosfery poznańskiej etyki i filozofii, zabrzmiał ten głos jak grom czyszczący powietrze, a ja chwilami doznawałem złudzenia, że jakiś Bóg dobrotliwy przeniósł mnie między innych ludzi i w inne stosunki, że z Poznania zajechałem do — Europy. I lubo żal czułem do prelegenta, że po macoszemu obszedł się z polską literaturą, że nam nic nie powiedział o „Pięknej“ Okońskiego, „Aspazyi“, „Lenie“, „Bawidełku“ i t. d. to wdzięcznym jednak byłem mu głęboko za to słowo rozumnej i duchem nowoczesnym owianej krytyki. Może się to wyda dziwne, że z takim naciskiem reklamuję odczyt, — sympatyczny drobiazg literacki, — muszkę jednodniówkę, — ale jest to właśnie charakterystyczne dla stosunków naszych, że to co w innych warunkach przyjąłbym lekkim ukłonem jako rzecz codzienną, u nas witać muszę jako zadziwiającą niespodziankę i wielkie zdarzenie. Więc wołam na całe gardło: „Brawo prelegentowi!“ Wy mi się nie dziwcie. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

W *Tygodniku ilustrowanym* F-z w kronice. „Z tygodnia na tydzień“ wspominając o urządzonej w Berlinie wystawie prac Daniela Chodowieckiego, tak pisze;

„Uprzejmość okazana przez Niemców polskiemu rytownikowi, byłaby godną najwyższego uznania, gdyby nie okazało się przytem, że u sąsiadów naszych trwa dotąd jeszcze dawne nieporozumienie co do narodowości Chodowieckiego. Chcę wierzyć, że powodem tego jest jedynie: nieznajomość pewnych, ostatecznie rozwiązujących tę sprawę faktów. Ani wątpię też, że chęć rozmyślnego fałszowania prawdy nie postała w umyśle Heine'go, który w przedmowie do niemieckiego tłomaczenia „Don Quixot'a“ napisał niegdyś (w r. 1837) co następuje: „Bardzo wielu artystów kusiło się o odtworzenie w rysunku postaci Cervantesowskiego bohatera, wszystkie jednak rysunki angielskie, hiszpańskie i francuskie, jakie dotąd widzieć mi się zdarzyło, były wprost ohydne. Co się tyczy artystów „niemieckich“, wspomnieć tu muszę o naszym wielkim Danielu Chodowieckim. On jeden doskonale „Don Quixot'a zrozumiał..“ Poeta, szczery aż do okrucieństwa, a miłujący prawdę aż do heroizmu, nigdyby z pewnością owego kłamstwa nie napisał, gdyby wiedział był, że to kłamstwo. Do tego zaś wystarczyłaby mu znajomość dokumentu, który poniżej przytaczam, a który — raz jeszcze chcę w to wierzyć — obcy też być musi i dzisiejszym dziennikarzom berlińskim... Dokument ów, przechowujący się w „Bibliotece Jagiellońskiej“ w Krakowie wydrukowali już: Bandtkie w „Historyi drukarń“ i Rastawiecki w „Słowniku malarzy polskich“, ponieważ jednak są to dzieła, do których ogół nie zwykł zaglądać, powtórzyć go zatem raz jeszcze nie zaszkodzi. Otóż więc kwestyę narodowości Daniela Chodowieckiego rozstrzygnął sam Daniel Chodowiecki w następującym liście, pisanym do Józefa Łęgowskiego, profesora astronomii w Krakowie: „Kiedy WPan Dobrodziej zechce mię liczyć do Polaków, których rodzice w Niemczech osiedli, to mię krzywdzisz, bo tym sposobem nie byłbym Polakiem, lecz Niemcem; lecz ja sobie zaszczyt czynię być prawdziwym Polakiem, chociażem w Niemczech osiadł. Bartłomiej Chodowiecki był ziemianinem w Wielko-Polsce. Jego syn czwarty, Mateusz, urodzony z Krystyny Morawskiej w r. 1583, był dysydenckim księdzem w Żychlinie i ożenił się z Elżbietą Mozoniówną. Mateusz spłodził r. 1610 syna Jana, potem księdza w Toruniu, a żoną jego była Elżbieta Rychnowska. Tenże Jan spłodził w r. 1655 Krystyna, kupca w Gdańsku, za którym była Zofia de Gentinówna. Krystyan w r. 1698, także kupiec w Gdańsku, spłodził syna Godfryda, który się ożenił z Henryką Ayrer i w r. 1726 spłodził Daniela. Ten ja jestem, pierwszy z Chodowieckich, który opuściwszy Polskę, w Niemczech osiadł! Stąd widzisz, WPan Dobrodziej, żem prawdziwy Polak.“ Cóż dodać do tego? Chyba zwyczajem, przyjętym w dziennikarstwie, dopisać: „Uprasza się uczciwe pisma niemieckie o — powtórzenie.“

* * *

P. Gabryela Zapolska pomieściła w ostatnim numerze paryzkiego „La revue blanche“ artykuł o współczesnej literaturze polskiej p. t. „Lettres polonaises“. Praca autorki naszej zwróciła uwagę literatów i pism francuskich, z których kilka przytacza z niej wyjątki, a „Cocarde“ przedrukowuje nawet całą prawie. W jednym z następnych numerów „Revue blanche“ ma się ukazać nowela p. Zapolskiej p. t. „Le précurseur des ténebres“ (Goniec ciemności).

* * *

Gustaw Bioerklund. Pokój i rozbrojenie. Z upoważnienia autora tłomaczył K. I. R. Poznań 1895.

Streszczenie tej interesującej broszury zamieściliśmy przed kilku tygodniami. Dziś zatem poprzestajemy na podaniu do wiadomości publicznej, że sama książeczka ukazała się na pułkach księgarskich w tłomaczeniu wybornem, Styl jędrny, lekki i czysty świadczy wymownie, że za literami K. I. R. ukrywa się rutynowane pióro literackie, władające językiem pięknym i poprawnym. Przekład ten wyróżnia się korzystnie z całej powodzi tłomaczeń, pisanych gorączkowo na obstalunek i dokonanych często przez autorów, nie posiadających nawet znajomości prawideł stylu polskiego.

* * *

Nowe czasopisma. We Lwowie począł wychodzić pod redakcyją p. Ernesta Breitera tygodnik polityczno-literacki p. t. „Monitor“, o tendencjach demokratycznych. — W Krakowie ukazał się pierwszy numer tygodnika społeczno-literackiego p. t. „Przegląd Krakowski“. Redakcyę objął p. St Brandowski. — Otrzymaliśmy również numer okazowy wychodzącego we Lwowie „K o ł a“, czasopisma poświęconego sportowi bicyklowemu. Przedstawia się on tak zewnętrznie jak wewnętrznie suto i bardzo dodatnio. Jest to organ dwòch klubów cyklistów: krakowskiego i lwowskiego. — Dziwny to kraj, ta Galicya! Zdobyć się może na pisma poświęcone lubownictwu filatelistycznemu i cyklowemu; ba! posiada nawet — mimo swej okrzyczanej „nędzy galicyjskiej“ — stowarzyszenia, które łożą na ich publikacyę, a równocześnie, z uporem godnym lepszej sprawy, nie chce popierać czasopism literackich i artystycznych ani drogą prenumeraty, ani przez subwencye. A posiada aż dwa wielkie towarzystwa, poświęcone krzewieniu zamiłowania do sztuki! — Ci, co tak gorąco i zapamiętale kochają się w pojęciach, wyobrażeniach i dziełach zagranicznych, lekceważąc wszystko co swojskie i swoje, powinnni by sobie, przy pierwszej lepszej sposobności — ot n. p. patrząc na dwa pięknie i starannie redagowane dwutygodniki („Koło“ i „Filatelista“) — wypisać z Niemiec, Anglii lub Francyi parę dekagramów... zdrowej, niepolskiej logiki, no! i przeczytać starą bajkę Lafontaine'a (nie polskiego mistrza) o „Żabie i koniu“.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Komitet wyborczy niemieckiego stronnictwa postępowego w Poznaniu zwołuje zebranie w sprawie ustawy przewrotowej na 16 b m — Nowe prezydyum parlamentu powitał cesarz Wilhelm II łaskawie podczas uczty, wydanej na cześć ks. Bismarcka. — Prezesem Towarzystwa przemysłowego w Poznaniu obrany został p dr Karchowski. — Poznańskie Towarzystwo „Sokół“ urządza publiczny obchód rocznicy majowej w dniu 2 maja. Wstępne przemówienie wygłosi p. dr. Rabski. Odczyt okolicznościowy wypowie p. Karol Rzepecki, redaktor „Gońca Wielkopolskiego“. — Na wniosek mecenasa Wolińskiego uchwaliła rada miejska w Poznaniu subwencye w wysokości 200 mr. dla muzeum Tow. Przyj. Nauk. — Ruch robotniczy w Belgii przybiera spokojniejszy charakter.

Teatr i muzyka. O losach trupy poznańskiej w czasie letnich miesięcy nie zapadła dotychczas stanowcza decyzya. Prawdopodobnem jest, że jedna część artystów uda się na prowincyę, a druga występować będzie gościnnie na scenach galicyjskich i w teatrach Królestwa Polskiego. — Lwowska publiczność przyjęła z zapałem premijowany utwór M. Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny“. Na cześć autora odbył się bankiet w salonach Koła literackiego. — „Ciepła wdówka“ Bałuckiego doznała w Krakowie chłodnego przyjęcia. — Znana poznańskiej publiczności artystka dramatyczna p. Pankiewicz wystąpiła gościnnie na krakowskiej scenie. Kazimierz Ehrenberg, recenzent „Czasu“ krakowskiego, odmówił artystce wybitniejszego talentu, przyznał jednak znaczne zasoby rutyny teatralnej. — Cesaro Rossi, najznakomitszy tragik współczesny, pożegnał w Florencyi publiczność i usunął się do Sano, gdzie resztę życia przepędzi. — Została zatwierdzona budowa teatru w Kaliszu. — Gościnne występy Mieczysława Frenkla na poznańskiej scenie nie przyjdą do skutku. — Nowa opera Mascagniego. „Silvano“, wystawioną została w tych dniach na scenie teatru medjolańskiego La Scala. Powodzeniem cieszył się duet Silvana i Matyldy, który musiał być powtórzonym. Publiczność przywoływała kilkakrotnie Mascagniego, oraz tenora Delucia, który wprawił w zachwyt słuchaczy wykonaniem aryi lirycznej w drugim akcie. Publiczności podobał się też dosyć chór kobiet z aktu drugiego, po którego odśpiewaniu, przywołano pięciokrotnie Mascagniego. Znawcy utrzymują, iż w operze „Silvano“ powraca znów Mascagni do pełnej prostoty i melodyjności muzyki, jaką odznacza się „Cavalleria rusticana“. Krytyka jednak pism rzymskich przyjęła nieprzychylnie nowy utwór Mascagniego i opera upadła. — Opera Smetany pt. „Tajemnica“, którą wystawia opera wiedeńska, budzi wielkie zainteresowanie wśród melomanów. Smetana skomponował tę operę, będąc już zupełnie głuchym Na premierę zaproszono wdowę po kompozytorze i jego siostrę.

Fizyologia i muzyka. Lekarz amerykański, dr. Alfred Warthin, profesor uniwersytetu w Michigan, postanowił zbadać oddziaływanie fizyologiczne muzyki na organizm ludzki. Celem lepszego odosobnienia od wszelkiego wrażenia zewnętrznego osób, na których zamierzał zrobić eksperyment, uznał za stosowne wprowadzić je w stan hypnozy. Wybrał tedy pięciu mężczyzn i dwie kobiety, na których muzyka w warunkach normalnych nie wywierała zbytniego wrażenia, i zanim ich uśpił, suggestyonował im wolę zachowania po przebudzeniu pamięci otrzymanych wrażeń. Poczem zagrał im Wagnera. Przytoczymy tu obserwacye, dokonane na drze M., człowieku lat 40, gdy grano „Jazdę Walkiryi“: „Puls staje się od razu szybszy, pełniejszy; naprężenie wzmaga się, liczba uderzeń dochodzi do 120; poczem puls staje się bardzo szybki a naprężenie się zmniejsza. Jednocześnie oddech podnosi się od 18 do 30 na minutę, twarz wyraża wielkie wzburzenie, całe ciało okryte jest obfitym potem. Obudzone medium oświadcza, że nie odczuwało muzyki jako dźwięku, ale jako wrażenie ogólne, rodzaj podniecenia, wywołanego przez „szaloną jazdę w przestrzeni“. Dr. Warthin utrzymuje nadto, że dla wywołania stanu hypnotycznego nie ma lepszego środka nad muzykę. Jednego ze swoich medyów naprzykład nie mógł uspić inaczej, jak zapomocą „chóru pielgrzymów“ z „Tannhausera“, medium owo już przed piątym taktem spało. Dr. Warthin ogłosił ciekawe swoje obserwacye w „Annales de Psychiatrie“.

Zabobon XVII wieku. Przed kilku dniami przy demolowaniu starej rudery znaleziono we Lwowie w murze I. piętra wmurowaną kurę i koguta. Okazy podobne do mumii, były koloru popielatego. Kogut dość wielki miał zawiązany dziób suknem, a kura nogi. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wmurowano je tam żywcem w r. 1606, a to dla odstraszenia nieczystych duchów.

Ku uczczeniu 400-setnej rocznicy śmierci Torquata Tassa przygotowują we Włoszech wielkie uroczystości. W Rzymie wystawiona będzie „Aminta“, z odnalezioną w Bolonii muzyką owej epoki. Profesor Solerti zaś wydaje trzytomową historyę życia poety, obejmującą jeszcze jego listy. Solerti dowodzi w dziele swojem, że ks. Eleonora Ferrary nie była piękną i że ani Tasso jej nigdy nie kochał ani ona jego.

Z teki aforyzmów

J e r z e g o P ł o ń s k i e g o.

Pierwsza miłość jak wulkan tryska z głębin pod niebiosa, roztaczając w około imponujący blask świetnych ogni, siejąc tysiącem złotych iskier, aby — wygasnąć, pozostawiając martwy krater. Ostatnia miłość to rzeka, która zwolna przerzyna kamienne gór zapory, aby cicho, wytrwale, z pożytkiem dla ludzi, płynąć do końca — życia.

—

Jeżeli polka czyta jasno w duszy męża i zna na wylot wartość jego i czynów pobudki, małżonek nabiera przekonania, że nie jest kochanym.

—

Wiele polek rozumuje sercem, a kocha rozumem.

—

Dwie są kategorye blagierów; jedni mamią innych, drudzy — siebie. Tych ostatnich przedewszystkiem należy unikać.

—

Dwie są kategorye pesymistów; dla jednych świat jest za dobrym, dla drugich — za złym. Pierwsi godni wzgardy, drudzy — miłości.

—

Źle jest kłamać, ale gorzej — mówić prawdę.

BIBLIOGRAFJA.

Stefan Komornicki Rzeź w Krożach. Lwów 1895 r.

Wincenty Rapacki (syn). Co mówi serce? Poznań 1895 r.

Józef Tretiak. Ignacy Krasicki jako prezydent trybunału. Kraków 1895 r.

T. T. Jeż. Żusia. Powieść współczesna w 3-ch częściach. Lwów 1895 r.

Odpowiedzi Redakcyi

P. Zofii. W dzisiejszym numerze znajdzie Pani obszerną recenzyę. Książki p. St. T a r n o w s k i e g o nie polecamy.

Exul. Nadesłanego utworu zamieścić nie możemy, mimo serdecznego współczucia, które budzi w nas nuta tęsknoty w rymach wygnańca.

Z. T. Mało interesuje czytelników „Przeglądu“, czy Marya kocha lub nie kocha, a przekonani jesteśmy, że Pańską miłość prędzej uwieńczy pomyślny rezultat, jeżeli prozą uczucia swoje wyśpiewasz.

Szczebiotka. Talent Pani zapowiada wiele i przekonani jesteśmy, że wkrótce szczebiot zamieni się w śpiew wspaniały. Prosimy o więcej utworów.

M. w Monachium. Z wydań „Heinego“ najlepsze jest wydanie Karpelesa z przedmową Buchheima.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Ludwik Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 15. Poznań, Niedziela 14go Kwietnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Dwie rezolucye.

Walne zebranie wyborców miasta Poznania odbyło się we wtorek na sali p. Adamskiego, a znamienną cechą pierwszej połowy obrad była — jednomyślność. Smutne doświadczenia mówią nam niestety, że jednomyślność poznańska nosiła niejodnokrotnie rysy bezmyślności, ale jeżeli zważymy, że dojrzałość polityczna ludu w ostatnich latach rozwinęła się korzystnie, — jeżeli dalej uwzględnimy, że na wtorkowem zebraniu inteligencya wszystkich obozów stanęła do apelu, — to owa zgodność opinii i solidarność wszystkich wyborców przestaje budzić uśmiechy ironii i uchwały walnego zebrania otacza blaskiem niezwykłej powagi. Tenor rezolucyi przedłożonych zgromadzeniu przez pp. dr. Rabskiego i dr. Krysiewicza jest następujący:

I.

„Zebrani dnia 9 kwietnia na sali Adamskiego Polacy — wyborcy miasta Poznania upatrują w „Ustawie przewrotowej“, projektowanej przez rząd niemiecki, a zatwierdzonej z małemi zmianami w drugiem czytaniu komisyi obradującej, groźne niebezpieczeństwo dla swobody obywatelskiej i życia narodowego. Protestując zatem stanowczo przeciw przyjęciu projektu, zanoszą Polacy wyborcy m. Poznania do przedstawicieli swoich w parlamencie niemieckim petycyę, aby jak najenergiczniej wystąpili przeciw niebezpiecznej ustawie, która jest pogwałceniem swobód konstytucyjnych i cywilizacyi, a właśnie społeczeństwu polskiemu zgotować może klęskę dotkliwą w walce o byt narodowy.“

II.

„Zebrani dnia 9 kwietnia na sali Adamskiego Polacy — wyborcy miasta Poznania wyrażają życzenie, aby Koła polskie w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim porzuciły zasadę bezwzględnej tajności uchwał i za pośrednictwem pism polskich wszystkich obozów informowały wyborców o wyniku obrad i głosowań swoich, o ile informacyi tej nie wyklucza chwilowy interes polityczny w walce na zewnątrz.“

Obie rezolucye, ułożone przez redakcyę „Przeglądu Poznańskiego“, przyjęto burzą oklasków, — nikt nie protestował i jednomyślny głos społeczeństwa poznańskiego niesie dwie prośby i dwie przestrogi do reprezentacyi polskich w stolicy niemieckiej. Snać jednak z „wyżyn“ polityki naszej musiały powiać niespodziewanie odmienne wiatry, bo „Kuryer Poznański“ stara się osłabić doniosłość uchwał powziętych, a „Dziennik Poznański“ krytykujący jeszcze przed kilku dniami w tonie niezwykłej energii szczelne odgraniczenie Kół poselskich od społeczeństwa zwija dziś starym zwyczajem sztandar opozycyi i publikuje jakieś „Listy polityczne“ w obronie rolosów, zamków i kurtyn reprezentacyi naszych w sejmie i parlamencie. Organ duchowieństwa, sympatyzujący, lubo bez hałasu, z ustawą przewrotową, stara się przedewszystkiem osłabić doniosłość „jednomyślności“, a w zacietrzewieniu polemicznem ubliża zebraniu, — ubliża własnym chorążym. Zdaniem lojalnego pisma budziły rezolucye wśród zgromadzonych obywateli poważne wątpliwości, ale dla „świętej zgody“ nikt opozycyi nie podniósł, aby przed następującym punktem programowym — wyborem nowego komitetu — nie rozbudzić politycznych namiętności.

Jakże w tej „Kuryerowej“ ocenie niknie powaga polityczna własnych jego rycerzy, — jakże ta myśląca inteligencya z ugodowego obozu kurczy się w lustrze „Kuryerowem“! Więc tam, gdzie sprawa pierwszorzędnej wagi staje na porządku dziennym, — tam, gdzie układa się dyrektywę polityczną dla przedstawicieli narodu w parlamencie niemieckim, — tam, gdzie grono obywateli zebrało się w tym celu, aby zamanifestować swoje opinie polityczne, — zwolennicy „Kuryera Poznańskiego“ zamykają na cztery zamki przekonania swoje i symulują wstrętne sobie sympatye polityczne dla projektowanych rezolucyi, aby „świętej zgody“ nie burzyć?! Redakcya „Kuryera“, zatrwożona jednomyślnością rezolucyi powziętych, woli konserwatywnym hufcom „ładu i porządku“ fałszywe i ubliżające podsunąć motywy, niż przyznać otwarcie, że nawet ten lojalny „ład i porządek“ stanął w opozycyi do groźnych zakusów rządu niemieckiego i dotychczasowych praktyk obu Kół poselskich w sejmie i parlamencie.

Sofizmaty tej interpretacyi zresztą nadto są widoczne, aby wzbudzić wiarę w sumienność twierdzeń „Kuryerowych“. W wilią zebrania bowiem wiadomem już było w Poznaniu, że stronnictwo ludowe nie sprawia szyków bojowych i na placu bitwy nie zjawi się wcale, a zatem nie istniała żadna wątpliwość, że wobec braku najburzliwszych, bo całym szeregiem niesprawiedliwości rozgoryczonych czynników, zebranie rozbiciu nie ulegnie i wybór komitetu odbędzie się w spokoju. Kto wpatrywał się w fizyonomią zebrań poznańskich i w fizyonomii tej czytać się nauczył, ten wiedział od pierwszej chwili, że „ład i porządek“ nie potrzebuje na ołtarzu zgody składać ofiary z przekonań politycznych, bo rozbicie zebrania z góry było wykluczonem.

Rzekomej ofiarności konserwatywno-ugodowego obozu zaprzecza też najwymowniej lista kandydatów do komitetu, figurująca pod firmą „Stronnictwa narodowego“. Po bankructwie starej marki „ładu i porządku“ postarał się p. Dobrowolski o inny „nom de guerre“ i oto zjawiło się na zebraniu jakieś „stronnictwo narodowe“, reprezentowane oficyalnie przez zecerów „Dziennika Poznańskiego.“ Rozumiemy istnienie „stronnictwa ludowego“ bo znamy jego organizacyę, jego zarząd i jego komitet wyborczy, ale zkąd pierwszy lepszy dziennikarz ośmiela się fabrykować listę kandydatów, przylepiać lśniącą firmę „stronnictwa narodowego“ i urzędowym przedstawicielem tego fikcyjnego stronnictwa mianować zecera własnej drukarni, to zaiste trudno zrozumieć. Jeżeli za wzorem „Dziennika“ pójdą redakcye innych czasopism, a w dalszej konsekwencyi całe szeregi „dzikich“, to niebawem zamiast listy pana X lub Y, kandydatów „Gońca“ lub „Kuryera“, doczekamy się listy „stronnictwa sprawiedliwości“, „stronnictwa rozumu politycznego“, „stronnictwa polskiego“, „stronnictwa czystych rąk“ i t. d. O interesujące tytuły łatwo. Zdaniem naszem atoli, tym jedynie przysługuje prawo występować w urzędowym charakterze stronnictwa, którzy posiadają własną odrębną organizacyę z oficyalnym zarządem na czele. W przeciwnym razie jest to uzurpacya, którą z całą stanowczością piętnować należy.

Lista, przedstawiona przez zecerów „Dziennika Poznańskiego“ była w samej rzeczy fabrykatem redakcyjnym i nosiła na sobie stempel kliki „ładu i porządku“ *alias* Dziennikowo-Kuryerowego obozu. Nie zdradzała ona jednak żadnych koncesyi w interesie „świętej zgody“, o której śpiewa organ duchowieństwa, lecz biła w oczy piętnem bezwzględności, forytującej nieomal wyłącznie zwolenników jednego kierunku politycznego. Nikt bowiem nie poczyta dwóch postępowo - demokratycznych nazwisk na liście osiemnastu kandydatów za poważne ustępstwo. Wyzyskano tu przewagę przypadkową, zdobytą jedynie przez nieobecność stronnictwa ludowego.

Obok listy „ładu i porządku“ przedstawił własnych kandydatów „Goniec Wielkopolski“. Nie wierzymy bynajmniej oświadczeniu jednego z uczestników zebrania, że przyjęcie listy „Gońcowej“ położyłoby koniec stanowczy walkom

partyjnym w społeczeństwie naszem, uznajemy natomiast chętnie, że redakcya dziennika tego kierowała się uczuciem sprawiedliwości, pragnąc, aby w komitecie wyborczym miasta Poznania zasiadali reprezentanci wszystkich stronnictw w odpowiedniej liczbie. Większość zgromadzonych jednak nie uznała intencyi obywatelskich redakcyi „Gońca Wielkopolskiego“ i drobną nadwyżką głosów zatwierdziła komitet o partyjnem obliczu.

Inny natomiast i wręcz niespodziewany obrót wziął wybór delegata miasta Poznania: Zwyciężył p. dr. Krysiewicz, obywatel znany w szerokich kołach z humanitarnych i postępowo-demokratycznych przekonań. Nie rozstrzygamy, czy kilku z stronników zwycięskiej listy komitetowej uczuło nagle instynkt sprawiedliwości, czy też osobiste zalety p. dr. Krysiewicza przezwyciężyły partyjne uprzedzenia, czy wreszcie ten i ów z żołnierzy „Dziennika Pozn.“ po wyborze komitetu opuścił salę, nie czekając na wybór delegata, — dość, że zwyciężył młody obywatel o szerszych poglądach politycznych i jeden z najwybitniejszych chorążych postępowego obozu. Z zwycięstwa tego dumni jesteśmy, bo tryumf p. dr. Krysiewicza jest tryumfem naszego kierunku.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„*Gazeta Grudziądzka*“ (Nr. 41) tak charakteryzuje mowę jenerała Boie na festynie Bismarckowskim w Grudziądzu:

„Do mowy na cześć cesarza przypiął wzmiankę, że uchwała parlamentu z dnia 23 marca br. przyszła do skutku przez głosowanie około 2 tuzinów Polaków, Francuzów i Duńczyków, którym dozwolono mieszkać w państwie niemieckiem i oddychać niemieckiem powietrzem. (??!) Pierwszy raz słyszymy o tej wielkiej łasce z ust p. jenerała — komenderującego Boiego! Jeśli to w jakiej części zależy od jego łaskawości, prosilibyśmy go, aby nam dozwolił oddychać przynajmniej własnem powietrzem, bo doprawdy nie z naszej winy czuć tu nie „po polsku“.

Jenerał Boie snać nie bardzo obeznany z wypadkami historycznymi zeszłego stulecia, inaczej winien przecież wiedzieć, że nie my wkradliśmy się do ziem, na których mieszkamy, że nie my dokonaliśmy na Polsce tego, coby w życiu prywatnem nazwano rozbojem na publicznej drodze i ukarano ciężkiem więzieniem!

Pozwolenia więc na mieszkanie tu, gdzie mieszkamy, niczyjego nie potrzebujemy, a że nasze pierwotnie czyste polskie powietrze oddechem płuc niepolskich zakażone, w tem — jak to już wyżej powiedzieliśmy — nie nasza wina.“

—

Z Bydgoszczy piszą do *Dziennika Kujawskiego* (Nr. 76):

„Będąc przypadkiem jako gość na posiedzeniu wydziału „Sokoła“ bydgoskiego, dowiedziałem się z przyjemnością, że Bracia Sokoły z nad Brdy zapatrują się poważnie na ideę sokolską i sposobią się do spełnienia położonego w nich zaufania przez urządzenie w tym roku zlotu żupowego. Zdziwiłem się jednakże wielce, że Sokoli bydgoscy mało doznają poparcia u tych warstw narodu, które winny być pochodnią życia narodowego. Uniewinniają się niektórzy, że „Sokół“ bydgoski występuje jako stronnictwo. Na to odpowiadam, że podobne zapatrywanie jest mylne, a zarazem pokazuje, że nie zrozumiano przewodniej myśli sokolskiej. Otóż znaną jest, a przynajmniej być powinno rzeczą, że Sokolstwo polskie nie jest stronnictwem, a tem mniej koteryą polityczną, gdyż dąży do do tego, aby połączyć pod jeden sztandar ludzi dobrej woli bez względu na polityczne przekonania. Poza obrębem „Sokoła“ wolno objawiać różne zdania, pod warunkiem oczywiście, aby uszanować odmienne przekonania, jeżeli takowe nie są szkodliwe dla sprawy narodowej.

Polki bydgoskie chcą na wzór swych sióstr inowrocławskich sprawić sztandar Sokołowi. Mamy nadzieję, że myśl ta znajdzie oddźwięk w całej bydgoskiej Polonii.“

—

Gazeta Toruńska (Nr. 77) donosi:

„Urodziny ks. Bismarcka po większych miastach nie wypadły zbyt świetnie. Chorągwie powywieszano przeważnie tylko na gmachach rządowych. W Toruniu na rynku zauważyliśmy chorągwie tylko na czterech budynkach miejskich i rządowych. Natomiast ze Sztumu donoszą nam, że tam nietylko na dwóch przez katolików zamieszkałych domach, lecz nawet na kościele katolickim wywieszono chorągwie z okazyi urodzin ks. Bismarcka. Jak wiadomo, w Sztumie toczą się między ks. proboszczem a parafianami polskimi spory, które już kilku parafian zaprowadziły do więzienia. Jeżeli ks. proboszcz polecił ową chorągiew wywiesić, to będzie on chlubnym wyjątkiem w obozie katolickim, który poeta bismarkowski w „Deutsche Tages-Zeitung“ arcypoetycznie piętnuje jako schwarze Mistkäfer, Schranzen der Hölle, Lichtscheuer Totengräber ekler Kreis, Nachtgeschmeis i Gewürm, tj. robactwo, które zdeptać należy. Z powodu obelg miotanych na katolików przez organ niemieckiego związku rolników a niezganionych przez zarząd tegoż powiada gdański „Volksblatt“, że byłoby to hańbą dla każdego katolika, gdyby chciał nadal należeć do związku rolników. Tak urodziny pierwszego kanclerza, zamiast zjednoczyć Niemców wszelkich wyznań i przekonań politycznych, odnowiły tylko dawne nienawiści i walki, które rozrywały łono niemieckiego narodu za rządów ks. Bismarka“.

—

„*Gazeta Grudziądzka*“ pisze w Nr. 43:

„Co do wiadomości, dotyczących postanowień Koła polskiego w parlamencie w sprawie ustawy przewrotowej, które czerpiemy — o ironio losu! — z pism niemieckich, to zupełnie nie wiemy, co w obec nich powiedzieć, jesteśmy bowiem, jak zresztą wszystkie inne pisma polskie, w tej mierze bez wszelkich informacyi ze strony Koła polskiego. W obec szczegółowych informacyi, dotyczących postanowień Koła polskiego, z któremi się spotykamy w pismach niemieckich, odczuwamy tem bardziej zupełny brak łączności między Kołami naszemi, a poszczególnemi organami prasy polskiej.

Niektóre pisma poruszały przed niedawnym czasem sprawę jawności obrad w Kołach naszych, my będąc za warunkową jawnością, nie wygłaszaliśmy umyślnie zdania naszego, aby nie podsycać swarów dziennikarskich, dziś jednakże, kiedy widzimy, że jest jawność obrad dla prasy niemieckiej, gdy tymczasem dla prasy polskiej tejże jawności nie ma, dziś nie mamy powodu krępować się jakiemikolwiek względami. Domagamy się więc stanowczo warunkowej jawności obrad, tj. żądamy, aby Koła nasze informowały prasę polską o swych postanowieniach, mianowicie, gdy chodzi o tak ważne sprawy, jak projekt do ustawy „przewrotowej“

Wyborcy mają bowiem wszelkie prawo domagać się takich informacyi od swych reprezentantów“

—

„*Orędownik*“ tak pisze w jędrnych artykułach p. t. „Bojkot partyi dworskiej, a Związek antipolski.“ (Nr. 81 i 82:

„Na zdeptaniu siły socyalnej warstw średnich i ludu znani przywódzcy partyi dworskiej chcieli założyć panowanie swoje.

W tym celu rozwinęli — bojkot na wielkie rozmiary, — a temu manewrowi sekundowali po swojemu niektórzy księża — nawet z ambon.

I Pan Bóg pokrzyżował im szyki, nie dopuścił do zdeptania siły socyalnej zwolenników ruchu ludowego i wydał ich — na straszne pośmiewisko swoich i nieswoich.

Bo — pytamy — czy to nie palec Boży? — czy to nie straszne igrzysko, że w chwili, kiedy zwolennicy partyi dworskiej w Poznaniu, Bydgoszczy i na innych punktach prowincyi w najlepsze pracowali bojkotem, nagle jak na jakim czarodziejskim balecie stanął obok bojkotu partyi dworskiej socyusz, któremu na imię „H. K. T.“, prezentując przywódzcom partyi dworskiej jedną ręką program Związku antipolskiego, a drugą ręką wskazując: kędy droga prowadzi — do Schwedt?

Co za obraz, — co za igrzysko!“

. . . .

„Bojkot partyi dworskiej rozwinął się dość straszenie. Był jakoś cicho. tajemniczo zorganizowany, coby przemawiało za tem, że musiał znaleść pewien grunt w naszych stosunkach socyalnych i zarobkowych i że te stosunki bardzo świetne być nie muszą. Z tem należałoby nam się liczyć w obec cichej walki, jaką nam Związek antipolski zapowiada.

Że bojkot partyi dworskiej znalazł pewien grunt, pokazało się na tem, że nie tylko znaleźli się ludzie, którzy bojkot proklamowali i propagowali, ale i w samych kołach kupieckich i przemysłowych byli tacy, którzy postrach bojkotu roznosili, jedni istotnie w dobrej wierze, z strachu, drudzy, żeby sobie reklamę robić i na tem zarabiać. Pierwsi chodzili w Poznaniu po handlach i warsztatach i wprost bojkotem grozili; przy kupnach wyraźnie mówili, iż nie kupiliby, gdyby kupiec lub przemysłowiec do ruchu ludowego należeli. Byli tacy lekarze, którzy pod pretekstem swego zawodu nachodzili domy wieczornemi wizytami — nieproszeni i wypytywali o stosunki z ruchem ludowym! Dziś jeszcze są tacy, którzy w Poznaniu grożą kupcom, że nie będą od nich kupowali, jak się ich inseraty pojawią w „Postępie“ lub „Orędowniku.“

Smutna rzecz, że w rzędzie tych bojkotowców znajdowali się i znajdują się jeszcze niektórzy księża, którzy w ten sposób po niektórych handlach polskich w Poznaniu głośno się odzywają, lub po cichu za bojkotem agitują.

Bojkot szerzył i szerzy jeszcze niemałą demoralizacyą śród tych kół naszych kupców i przemysłowców, którzy w gruncie rzeczy próżniacze prowadzą życie, wyzyskiwaniem patryotyzmu się ratują i zaszcze-

---

Władysław Rabski.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

OSOBY:

Dr. Zygmunt Wolski, naczelny redaktor dziennika politycznego.
Mieczysław Kostecki, współpracownik Wolskiego.
Czesław Ostrzyński, dziennikarz.
Hr. Władysław Warecki, obywatel ziemski.
Karol, Marta } jego dzieci
Michał Ruszczewski, daleki krewny i domownik Wareckich.
Melanja Wadyyńska, kuzynka Wareckich.
Maurycy Wisłowski, fabrykant.
Modliński, Leski } obywatele ziemscy.
Franciszek Turkiewicz, stary służący.
Marynka, Frania } pokojówki.
Służący II.
Pani Helena, Pan Henryk, Pani Zofia } goście.

Goście balowi. — Lokaje.

Rzecz dzieje się w Wielkiem Księstwie Poznańskiem w akcie I. w willi pani Wadyńskiej, w drugim na wsi u Wareckich, w III. i IV. w mieszkaniu Wolskiego.

Akt I.

Scena przedstawia salon wytwornie urządzony w willi pani Wadyńskiej. W głębi przez wielkie okna i szklane drzwi balkonowe, na rozcież otwarte, widać z dwóch stron schody marmurowe, wiodące do parku oświetlonego mnóstwem kolorowych lampionów i ozdobionego rzeźbami oraz wodotryskami. Po prawej i lewej stronie drzwi wiodące do dalszych salonów. Mężczyźni ubrani we fraki, kobiety w toaletach wieczorkowych. W chwili podniesienia kurtyny słychać oklaski za sceną i wołania: Brawo!

Scena I.

Wolski, Modliński, Ruszczewski.

OSTRZYŃSKI (*za sceną na prawo*):

Zatem w górę kielichy panowie! Niech żyje przyszły poseł, niech żyje hr. Karol Warecki!

(*Modliński, Wolski, Raszczewski wchodzą z balkonu do pokoju i przez chwilę wsłuchują się w brzęk kielichów.*)

RUSZCZEWSKI.

Pi! Pi! coś tam wesoło się bawią. Ostrzyński huczy i huczy (*zaciera ręce i śmieje się ironicznie*).

MODLIŃSKI.

Zdrowie przyszłego posła! Co pan na to, panie Wolski?

WOLSKI.

Że hrabia Karol nigdy posłem nie będzie.

MODLIŃSKI.

Pan popiera Wisłowskiego, ale ta kandydatura nie może liczyć na powodzenie. Kierunek wasz za młody i niebezpieczny w stosunkach naszych.

WOLSKI.

Niebezpieczny?... To wy na trzęsawisko naród prowadzicie, bo kierunek polityki obecny schlebia ambicyi szlacheckiej, lecz szkodzi interesom ogółu. Czas zresztą zerwać z zasadą, każdy szlachcic wioskowy jest urodzonym świecznikiem narodu, a my, na których powijakach nie było haftowanych koron, pionkami bez znaczenia i siły. Ten lud, którym gardzicie, rozwija się i rośnie.

RUSZCZEWSKI (*ogląda się trwożnie*).

Ciszej panowie, ciszej.

MODLIŃSKI.

My nie gardzimy ludem, panie Wolski, ale żądamy, aby i nam wzgardy nie rzucano. Fałszem jest, że osobiste ambicye kierują polityką posłów szlacheckich, fałszem, że dla nas głos ludu jest pustym dźwiękiem jedynie. Dla was wystarcza herb i korona, by na ich właściciela cisnąć kamieniem potępienia. Szlachcic! — wieszać na latarnię z nim. Rachujcie dobrze, bo ziarno, które rozsiewacie wydać może zgubne owoce. Łamiecie solidarność wyborczą i dla dogodzenia interesom stronnictwa torujecie drogę kandydatom niemieckim.

WOLSKI.

Bez przesady, panie Modliński! Wobec rozbicia obozu niemieckiego z tej strony żadna niegro-

piają w kołach jeszcze nie zdemoralizowanych przekonanie, że kupiectwo i przemysł mogą na tej drodze coś zyskać. Że ta demoralizacya osłabia w nas siłę zarobkową, którą jedynie zasłaniać się możemy przed Związkiem antipolskim, to rzecz jasna. Że partya dworska, pracując bojkotem, pracowała nad osłabieniem naszej siły obronnej w obec Związku antipolskiego, to także jest jasną rzeczą."

„*Goniec Wielkopolski*" pisze w Nr. 82.

„Społeczeństwo polskie w Zaborze pruskim spoczywa w stanie odrętwienia — na arenie politycznej rozpostarło się zobojętnienie, „powagi" nasze siedzą cichuteńko jak trusie i strzelając oczyma, to w prawo to w lewo, baczą, czy nie znajdzie się człowiek, któryby umiał nadać jednolity kierunek naszej domowej polityce „powagi" nasze nadsłuchują, czy nie odezwie się gdzie echo jakich „przyjacielskich zwierzeń parlamentarnych" ale jak dotąd, wytężają zmysły swe nadaremnie.

Inne stronnictwa, młodsze, a liczbą zwolenników bezwątpienia silniejsze, przypatrywały się dość długo tej „gnuśności" naszej politycznej aż wzięły się do pracy i oto usłyszymy niebawem znowu z łona społeczeństwa głos odzywający się do posłów naszych w Parlamencie.

Zgubny konserwatyzm naszych Kół poselskich objawia się w tem, że przez cały czas każdorazowej kadencyi zaledwie kilka „zdradzonych" wiadomości lub nowinek dociera do usz wyborców.

Potrzeba koniecznie naprawy tych stosunków

Oświadczyliśmy już przed 4ma laty, i dawniej jeszcze, jasno i dobitnie, że Koło nasze — parlamentarne potrzebuje „odrodzenia," zmiany krwi i wyłączenia żywiołów suchotniczych, które krępują rozwój narodowej polityki. — Na nic nie zdały się widocznie zawody doznane — na marne idzie praca kilku posłów znajdujących się obecnie w mniejszości. — Butny arystokratyzm i polityczna kołowacizna tak silnie połączyły jednostki, decydujące większością swych głosów w Kole parlamentarnem, że wszelkie zabiegi w tym względzie okazały się dotąd bezskutecznymi.

Polityka ugodowa nauczyła nas wybierać posłów albo na ślepo — albo też z poręki „notablów", ta sama polityka ugodowa uśpiła w społeczeństwie ducha inicyatywy. Czy posłowie nasi zdawali nam wyborcom w ogóle jakie sprawozdanie z czynności swych w Berlinie?

Gdyby nie jednostki, poczuwające się do tego obowiązku, gdyby nie stałość zasad i charakteru nielicznych niestety, a zasłużonych starszych posłów naszych, mogliby nam wrogowie śmiało cisnąć w oczy:

Polacy „owczym pędem" wybierają posłów swoich — nie troszczą się o nic — nie żądają nawet sprawozdań od tych, których zaszczycili względnie obarczyli mandatem. Cała polityka w Zaborze pruskim spoczywa w ręku kilkunastu wtajemniczonych jednostek i kilku dziennikarzy mających koneksye i chęć do pracy — reszta albo żyje z dnia na dzień bezmyślnie, albo też uchyla się od pracy.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Srpski Glas*", główny organ Serbów, mieszkających w Dalmacyi i w ziemiach chorwackich, podnosząc potrzebę organizacyi Serbów w tychże krajach, pisze o założeniu serbskiego banku w Zagrzebie:

„Serbowie, którym Chorwaci odmawiają w Dalmacyi i Chorwacyi prawa nazywania się Serbami, podnoszą się z dniem każdym materyalnie i moralnie i coraz to więcej zdobywają dla siebie gruntu.

„Dawniejszy minister serbski Tauszanowicz, który żyje obecnie w Zagrzebiu, stanął na czele ruchu serbskiego i w tych dniach za jego główniе staraniem został otwarty w Zagrzebiu bank serbski. Rozkupiono dotąd 45.338 akcyi, akcyonaryuszów jest 5.300. Ciekawem jest zestawienie akcyonaryuszów według krajów, które zamieszkują:

Chorwacya i Sławonia podpisały 32.466 akcyi, Bośnia i Herzegowina 5.695, Węgry 4129, Serbia 1.425, Dalmacya 600, Dolna Austrya 564, Niemcy 200, Czarnogóra 20. Bank skierowany jest w pierwszym rzędzie przeciw instytucyom finansowym żydowskim. Chorwatów, podobnie jak Węgrów zalały kapitały żydowskie i inteligencya żydowska, na czele stronnictwa prawa stoi żyd Franko. Zamiar wyemancypowania się z pod wpływu kapitałów żydowskich został przez Chorwatów przyjęty przychylnie, choć w obozie szowinistów chorwackich nie brak było głosów oburzenia, jak śmią Serbowie w stołecznem mieście Chorwatów serbskie zakładać banki."

* * *

Prasa słowiańska poświęca wiele uwagi Bismarkowi z powodu ostatnich bismarkowskich uroczystości. Tygodnik naukowy słoweński, wychodzący w Tryeście, „*Slovanski svet*" pisze pod nagłówkiem „Bismark pa Slovenstvo" co następuje:

„Jak Niemcy wysoko cenią zasługi Bismarka położone na pożytek i chwałę idei wszechniemieckiej, tak Słowianie nie przeceniają szkód, które Słowiańszczyźnie całej Bismark wyrządził. Bismark miał na oku nietylko potęgę Niemiec na zewnątrz, ale głównem staraniem jego było wpływać na politykę krajów ościennych, głównie na Austryą i półwysep bałkański, gdzie niemczyzna dzięki jego wpływom i opiece walczy zwycięsko z nami. Główną zasługą Bismarka było też to, że Niemcom zjednał sojusznika w Madziarach w walce przeciw żywiołom słowiańskim. Jaka różnica w traktowaniu przez Bismarka Madziarów i Czechów! Madziarom pomagał Bismark do zdobycia samodzielności, Czechom wszelkimi siłami przeszkadzał.

„Dzięki intrygom Bismarka w niwecz zostały obrócone nadzieje Słowian, jakie przywiązywali do wojny rosyjsko tureckiej. Słowianie Turków zwyciężyli, ale owoce tej walki zabrali Niemcy. W Bułgaryi siedzi na tronie Niemiec, w Serbii przez Ob. [illegible]owiczów ma rząd niemiecki Austryi wpływ na losy tego kraju, Bośnię i Hercegowinę dziś Niemcy z Prus kolonizują.

„Wpływ Bismarka na kraje poza granicami Niemiec położone nie jest już tak silnym, jak w Niemczech samych, dla tego nie może tyle uczynić nam szkody, ileby sam pragnął. Co nas atoli, Słowian, czeka od Niemców i od polityki bismarkowskiej, tego przykład najlepszy mamy na Polakach pruskich, z którymi w sposób najbrutalniejszy walczył, do których to bezwzględnie zastósował zasadę: Siła przed prawem."

* * *

Radykalne pismo serbskie „*Napredok*" pisze:

„Milanowi i Aleksandrowi Obrenowiczom urządziła redakcya „Figara" w lokalu swoim „café chantant", na które obok ojca i syna przybyli jeszcze: serbski poseł w Paryżu Garaszanin, serbski poseł w Londynie Mijatowicz i kilkunastu dziennikarzy. Przed towarzystwem popisywały się pierwsze gwiazdy „cafés chantants" paryskich.

„Serbscy królowie byli widokiem zachwyceni. Wzruszony głęboko dziękował redaktorowi „Figara" młody Aleksander za trudy i za to, że mu pozwolił w tak dystyngowanem towarzystwie czas spędzić". *K.*

LITERATURA I SZTUKA.

Curiosum historyczne.

(St. Tarnowski: Nasze dzieje w ostatnich stu latach.)
(*Dokończenie.*)

W dziejach emigracyi główna część przypada na życiorys księcia Czartoryskiego, działalność zakonu Zmartwychwstańców, wreszcie koleje życia Mickiewicza, a w tych ostatnich pismom jego poświęcona zaledwie wzmianka — natomiast sporo czytamy o pożyciu z żoną, o tem, że dzieci przybywało, a pieniędzy nie było itd. Towianizm przedstawia się tak, jak gdyby jego cechą charakterystyczną było leczenie nerwowych chorób. Messyanizm, który rozwinął się głównie na podstawie miłości ojczyzny, pod wrażeniem jej cierpień i tęsknoty za lepszą przyszłością odegrał zresztą dość ważną rolę w dziejach naszej emigracyi i niewątpliwie zasługiwał na wzmiankę. W tej formie jednak, w jakiej mówi o nim pan Tarnowski wydaje się zupełnie niepotrzebnym i związku z całością pozbawionym epizodem.

Że Towarzystwo demokratyczne i działalność emisaryuszy nie mają łaski w oczach autora to się samo przez się rozumie. Nie można prze

---

nam klęska. My liczyć umiemy i w chwili niebezpieczeństwa spełnimy nasz obowiązek, ale dziś nie wolno nam milczeć i uznawać hegemonii waszej, do której już dawno straciliście prawo.

MODLIŃSKI.

My nie pragniemy wyłącznej hegemomonii, a ci z szlacheckiej drużyny, którzy prawo do niej stracili, i w naszem gronie znajdują potępienie. Lecz wy? Wy potępiacie wszystkich bez wyjątku.

WOLSKI.

Bo wyjątków tych nader jest mało, a gdzie o zwycięstwo idei chodzi, tam na wyjątki oglądać się nie można. W walce o zasady tylko nieubłagana konsekwencya i jednolitość taktyki powiedzie nas do zwycięstwa. Drobnych niesprawiedliwości uniknąć tu nie podobna, a jeżeli zginie kilka ofiar niewinnych, to, panie Modliński, pro publico bono.

MODLIŃSKI.

Nie macie prawa wywieszać sztandaru dobra publicznego, bo pastwicie się nad stanem, którego nie rozkład etyczny, lecz stosunki ekonomiczne postawiły na przełomie. Ostrożnie panie Wolski! Tam, gdzie wszystkie siły wytężyć trzeba w obronie narodu, tam niebezpiecznie wprowadzać sztuczny ferment nienawiści kastowej i dzielić kraj na dwa wrogie obozy.

WOLSKI.

O! my nie zapominamy o warunkach rozwoju ekonomicznego, ale trudno nam nie widzieć plam na tarczy herbowej. Armia, która dotychczas o byt narodowy walczyła, jest zgangrenowaną. My na jej miejsce wprowadzamy młodzieńczy hufiec pełen zapału i niezłomnej siły. (*Ruszczewski uśmiecha się z zadowoleniem i zaciera ręce.*)

MODLIŃSKI.

I w czemże objawia się zgangrenowanie hrabiego Karola? Młody człowiek, który świetnie ukończył studya prawnicze, dobry mówca, filar naszych kółek agronomicznych.... ja znam go mało, ale pytałem wiele o niego i słyszałem wiele.

WOLSKI.

Hrabia Karol dotychczas żadnych zasług około społeczeństwa nie położył. Że z Heidelbergu przywiózł tytuł doktora utriusque iuris, to chyba nie jest bohaterską zasługą. Dobry mówca? Polityczna wymowa jest inną od salonowego oratorstwa, a wieniec laurowy, zdobyty efektownym toastem, może w parlamencie zmienić się w dzwoneczki Poliszynela. Co do kółek agronomicznych, to w rzędzie pionierów tego ruchu nie stoi dziedzic Karłowic i dopiero w ostatnim czasie słyszałem coś o jakimś odczycie czy referacie. Reklamowano ten występ. To karta wizytowa, którą kandydat poselski oddaje.

RUSZCZEWSKI.

Captatio benevolentiae!

MODLIŃSKI.

Co? I pan Ruszczewski, krewny i domownik Wareckich, po stronie demokracyi?

RUSZCZEWSKI (*zaambarasowany*).

Ja?.. broń Boże!... Ja tylko... widzi Pan... streściłem myśl pana Wolskiego dla uwypuklenia... rozumie Pan... tak! aby Panu ułatwić obronę.

WOLSKI.

Jeżeli krewnemu Wareckich przykrość wyrządziłem, to przepraszam. Ale w politycznej dyspucie ustąpić muszą względy towarzyskie.

RUSZCZEWSKI (*ogląda się trwożnie*).

Nie szkodzi, nie szkodzi.

WOLSKI.

Tak! panie Modliński. Stworzyłem rozłam w społeczeństwie, aby dać impuls życiu nowemu i hołd złożyć prawdziwej zasłudze. Za Wisłowskim nie tytuły hrabiowskie, lecz czyny przemawiają. On powołał do życia spółkę konsumpcyjną, on zakładał czytelnie ludowe, on założył pismo postępowe, które dziś jest moją własnością, on...

MODLIŃSKI (*przerywając*).

To spekulant, który filantropię uważa za drabinę, wiodącą do zaszczytów.

WOLSKI.

Nie wchodzę w motywa, ale...

RUSCZEWSKI (*przerywając*).

Towarzystwo wraca z ogrodu.

milczeć o tem, iż nakłaniali oni szlachtę do zniesienia pańszczyzny, ale tę ich czynność uważa za zbyteczną, gdyż „szlachta cała była oddawna chętna i gotowa to uczynić“ — o czem, jak wiadomo, długo i szeroko jeszcze dysputowaćby można i czego zresztą lud tak bardzo łatwo wmówić sobie nie da. Co do uwłaszczenia, to myśl tę uważa za niesłuszną i niedorzeczną, gdyż po pierwsze: ziemi dla wszystkich by nie wystarczyło, powtóre, gdyby każdy miał ziemię uprawiać, „to nie byłoby ani rękodzielników, ani kupców, ani urzędników, ani sędziów, ani nauczycieli: życie świata musiałoby ustać“.

Tłómaczenie to wielce naiwne na głęboką naiwność czytelników obliczone. Pod obdarzeniem ziemią ludności bezrolnej nie rozumiało przecież ani towarzystwo demokratyczne, ani jego emisaryusze wypędzania rzemieślników z warsztatów, ani sędziów z trybunału; nie zamierzało też profesorów uszczęśliwiać kilku zagonami kartofli lub kapusty.

„W ślad za emisaryuszami, namawiającymi do powstania, chodzili po wsiach galicyjskich inni ludzie przewrotni i niegodziwi“, którzy namawiali lud do napaści na dwory. Kto byli ci „inni ludzie“, zkąd się wzięli, — o tem ani wzmianki, że zaś — jak odkrył autor — i emisaryusze ze swej strony radzili zabijać szlachtę, powstaniu niechętną, więc naturalnie czytelnik pomyśli, iż do rzezi popychał chłopów cały naród i ci, co chcieli powstania i ci, co mu byli przeciwni — prócz naturalnie szlachty!

W tym razie lojalność względem rządu posuwa stanowczo po za dozwolone przez sumienie granice i woli rzucić potwarz na własny naród, niż stwierdzić znany fakt przewrotności austryackiej.

Szlachta — w opowiadaniu p. Tarnowskiego — tak jest apoteozowaną, przedstawia się tak doskonałą, nieomylną, anielską, że zaprawdę płakać tylko wypada z żalu za owym czasem, gdy cała jedna liczna warstwa narodu z samych świętych się składała. — Gdzież ci ludzie tak zniknęli bez śladu? czemu nie zostawili potomków? „Cała szlachta“ — czytamy — po rzezi galicyjskiej miała tylko uczucia przebaczenia i wyrozumienia dla tych, co zabijali — a „ani na chwilę goryczy, nienawiści do ludu, ani mściwości“. To wszystko działo się podobno nie w niebie, tylko w Galicyi. Szczęśliwy kraj, któryby choć przez kilka lat miał taką szlachtę. Nie wiem, czy po za tem zdarzył się kiedy w dziejach, na jakimkolwiek punkcie kuli ziemskiej wypadek taki, aby klasa ludzi mordowana, męczona, katowana niewinnie, nie zdradziła najlżejszym objawem naturalnych skłonności swej ludzkiej, ułomnej natury.

Rewolucyjny rok 1848, jak się spodziewać można było, naraża znowu p. Tarnowskiego na tysiączne sprzeczności i całkiem dowolną interpretacyą faktów. Wypadki, które zaszły w Niemczech i w Prusach, a na położenie Polaków w zaborze pruskim tak ważny wpływ wywarły, pomija całkiem pobieżną wzmianką: „W Poznańskiem wybuch powstania był tak słaby, że go prawie wcale nie było.“ Dalej znów czytamy, że król pruski „zrzekł się zaraz swych rządów absolutnych i dał konstytucyę“ — na tych kilku słowach ograniczają się wszystkie wiadomości, jakie o dziejach pruskiego zaboru przed kulturkampfem książeczka podaje. — Jest to istotnie treściwość i zwięzłość w tym razie chyba nadmierna.

Zaburzenia rewolucyjne w Austryi nabawiają autora niemało kłopotu, dla tego też opisuje je w sposób pozostawiający czytelnikowi mnóstwo wątpliwości. Początek brzmi tak, jak gdyby cała sprawa poszła niezmiernie gładko a lud jednym zamachem cel marzeń swych osiągnął. „Cesarz przyrzekł swobody obywatelskie poddanym, swobody narodowe wszystkim narodowościom, radość była powszechna.“ Dla czego ta radość długo nie trwała, autor nie wyjaśnia. Mówi tylko: „Burzliwe czasy mają to do siebie, że z jednego rozruchu rodzi się drugi, po jednych żądaniach przychodzą nowe: robi się z tego zamięszanie coraz gorsze, które trwa dopóki go wreszcie ktoś silny wojskiem nie stłumi. Tak bywa zwykle, tak było w tym roku 1848.“ „Radość powszechna“ skończyła się więc tem, że „ktoś silny“ (*nomina sunt odiosa*) bombardował Kraków, Lwów, potem Pragę czeską, potem były zaburzenia w Wiedniu, „stan rzeczy tak się pogorszył“, że na ulicach miasta były walki, „własną stolicę cesarza musiało wojsko dla niego zdobywać“; po zdobyciu srogi odwet, wyroki śmierci, rozstrzeliwania, więzienia. Naturalnie winni tu byli ludzie nieroztropni, wichrzyciele, burzyciele itd. — Jaką rolę w tym razie rząd odegrał, o tem się naturalnie przez grzeczność dla dynastyi nie mówi. Dla czego cesarz, który dał wszystkie „prawa i swobody“, czem wywołał „radość powszechną“, musiał później własną stolicę zdobywać, a kilka miast swego kraju bombardować — to jest i pozostaje dla czytelników zagadką. Dla p. Tarnowskiego zaś jest rzeczą całkiem naturalną, że „ktoś silny“ armatami radość narodu zagłusza i bombami przekonywa ludy domagające się swobód o ich lekkomyślności i nieroztropności.

Wśród takich warunków wstąpił na tron Franciszek Józef i tu już położenie p. Tarnowskiego staje się nad wyraz kłopotliwem. Monarcha, przy którym pan hrabia wraz z innymi Stańczykami „stoi i stać chce“ nie zawsze na aprobatę zasługiwał — tego zaprzeczyć nie można, trzeba się więc chwytać wybiegów. Otóż winnym Franciszek Józef nie mógł być nigdy, ale był, niestety, młodym i miał złych doradców. Ci „rozumieli słusznie, że powstanie na Węgrzech i we Włoszech stłumić należy“ ale tego nie rozumieli, że „rządząc po dawnemu nowe przygotują zaburzenia“. — „Metternicha nie było, ale duch jego został“. — Naturalnie najłatwiej odpowiedzialność złożyć na tego „ducha“; nie obraża się przez to nikogo i stanowiska lojalnego nie porzuca, zwłaszcza, jeśli się później nadmieni, że wszystko złe usunął potem Cesarz „mądrością i sprawiedliwością swoją“, gdy do lat „męzkich“ doszedł. Że tej „mądrości i sprawiedliwości“ nauczyły go wojny włoska i pruska, tego czytelnik domyśleć się może, choć autor podnosi fakt, że Franciszek Józef „z własnego popędu, bez żadnych zaburzeń i żadnego nacisku nadał konstytucyę“. Szkoda tylko, że trochę długo się namyślał i dziwnie wolno do lat męzkich dochodził, ale monarchowie nie zbyt szybko doświadczenia nabywają i w szkole życia do najpilniejszych uczniów nie należą.

Autor, jak widzieliśmy, w ogóle nie zbyt łaskaw na wszelkich rewolucyonistów, najsurowiej jednak potępia Włochów za ich dążenia do swobody i niepodległości. Płynie to naturalnie ztąd, że obracały się one przeciw dwom, dla p. Tarnowskiego najsympatyczniejszym potęgom: Habsburgom i Papieżowi. Bezbożne rewolucye włoskie „niby to“ miały na celu zmuszenie Papieża do oświadczenia się za niepodległością Włoch, właściwie jednak Kościół do upadku doprowadzić pragnęły. Później słyszymy, że król sardyński i hrabia Cavour umieli trafić do przekonania Napoleona tłómacząc, że panowanie Austryi w Lombardyi i Wenecyi sprzeciwia się zasadzie narodowości, co, mówiąc nawiasem, było tak oczywistem, że nie daje bynajmniej dowodu ich nadzwyczajnej elokwencyi. Autor nie przypisuje im jednak tak czystych i jasnych pobudek, lecz twierdzi, że „po cichu obiecywali sobie, że — jeżeli Francuzi zdobędą im i oddadzą Lombardyę, to potem oni już wypędzą wszystkich mniejszych książąt włoskich i zrobią jedno wielkie królestwo pod królem sardyńskim“, zamilcza fakt, że takich nadziei nie potrzebowali żywić „po cichu“, że dążność do zjednoczenia była wśród narodu włoskiego dość dawną i powszechną, wskutek czego z wyjątkiem państwa Kościelnego i Austryi nikt poważnego nie stawiał oporu.

Naturalnie jednak dążność ta, w oczach autora zbrodnicza, była tylko zamachem na Kościół katolicki i wiarę; król włoski sam się jej wstydził, a Napoleon na popieraniu jej nic nie zyskał, bo zamiast kilku małych i słabych książąt miał w sąsiedztwie wielkie królestwo włoskie.

WOLSKI (*n. s.*)

A! Marta.

(*przez drzwi balkonowe wchodzi Marta, Warecki, Melania i goście.*)

Scena II.

Ci sami, hr. Zygmunt Warecki, Marta, Melanja, Pani Helena, Pani Zofia, pan Henryk i liczne grono gości. (*Ruszczewski i Modliński witają się z nowoprzybyłymi.*)

PANI HELENA.

Cudowny wieczór!

PANI ZOFIA.

Superbe! magnifique!

PAN HENRYK.

Willa pani Melanii to raj zaklęty. Co za położenie! (*zwraca się ku drzwiom balkonówym*) Cały park kąpie się w blaskach lampionów, a w dali lśniące jezioro i wieże miejskich kościołów.

(*Wszyscy goście grupują się koło drzwi balkonowych i w park spoglądają. Wolski zbliża się do Melanii i Marty, witając je serdecznie.*)

WOLSKI (*półgłosem do Melanii*).

Czy już?

MELANJA (*również półgłosem*).

Za chwilę. Drżę cała. (*głośno do reszty towarzystwa*) A teraz proszę do refektarza (*wskazuje drzwi na prawo*). Przed wieczorną regatą trzeba się posilić, bo sił nie starczy wioślarzom naszym do walki.

PANI ZOFJA.

Gdzież reszta młodzieży?

RUSZCZEWSKI (*uśmiecha się*).

Jak zwykle. Baczek milszy od kobiety. (*wskazuje na prawo*). Bawią się tam aż miło.

WARECKI.

Poczciwy Ruszczewski! o wszystkiem zawsze poinformowany.

RUSZCZEWSKI (*zaambarasowany*),

Ja... przepraszam...

MELANJA.

Niechaj się bawią. Lecz na regatę gwałtem ich zabierzemy. Proszę państwa. (*Wskazuje drzwi na lewo. Wolski podaje ramię Marcie. Warecki wskazuje oczami na Wolskiego i szepce z Melanią na stronie.*)

PANI HELENA (*zatrzymuje się na chwilkę przed drzwiami, spogląda na Martę wychodzącą i mówi na stronie do pana Henryka*).

Marta est ravissante! Gdybym była mężczyzną, szalałabym z miłości.

PAN HENRYK (*n. s. do pani Heleny*).

Co do mnie, to wolę gosposię naszą. Wdówki to słabość moja, a pani Melania upaja jak szampan.

PANI HELENA (*n. s.*)

Powiedz pan: Jak wino stare (*śmieje się*).

PAN HENRYK (*n. s.*)

O! vous êtes méchante.

(*Wszyscy wychodzą oprócz Melanii i Wareckiego.*)

Scena III.

Melanja, Warecki.

WARECKI.

Zkąd ten Wolski w domu twoim, Melanjo? Zkąd ta poufałość z Martą?

MELANJA.

Wiesz wuju dobrze, że w salonach moich gromadzą się przedstawiciele różnych obozów, a zresztą, to jeden z najszlachetniejszych ludzi, przytem literat znany, dramaturg znakomity.

WARECKI.

Popierajże sobie talenta i strój salony w graciki literackie, ale ten Wolski to wróg naszej rodziny, to demagog i socyalista. Wiesz dobrze, że on jest redaktorem „Trybuny“, a „Trybuna“ to bicz na szlachtę. Rozumiesz? Il est rouge.

MELANJA.

Nie znam się na polityce. Wiem tylko, że to człowiek uczciwy, szlachetny i zdolny.

WARECKI (*z uśmiechem*).

No, no! ten zapał....

MELANJA.

Wuj jesteś złośliwy.... a choćby zresztą i tak było, cóż w tem nadzwyczajnego?

WARECKI.

Przez litość, Melanjo! Ten Herostrat spo

Sympatye p. Tarnowskiego stale towarzyszą monarchom, a odwracają się od ludów — i to tak dalece, że nawet zamach stanu Napoleona, zamach, który był tak niesumiennem, tak jaskrawem pogwałceniem prawa narodu, usprawiedliwia, utrzymując, iż znowu wywołali go wichrzyciele, którzy jątrzyli umysły i podnieśli bunt w Paryżu w końcu 1851 r., czem podobno „spokojni i porządni obywatele“ byli oburzeni i przerażeni.

Burzycielem i wichrzycielem, który bez powodu wszczął rozruchy i lud bezbronny po ulicach miasta mordował, był tu przecież sam Ludwik Napoleon. Buntu nie było, a opozycya była tak niespodzianie zaskoczoną, nieprzygotowaną i niezorganizowaną, że na żaden stanowczy krok zdobyć się nie mogła. Tym znanym powszechnie wypadkom ośmiela się p. Tarnowski zaprzeczyć, byle mieć okazyę do powtórzenia ulubionej piosenki o wichrzycielach i burzycielach.

Jak się autor zapatruje na powstanie 1863 r. i wypadki, które je poprzedziły, tego łatwo domyślić się można, — znając jego polityczne zasady. Wielopolski naturalnie ma jego całkowite uznanie, jednakże — zupełnie słusznie zresztą — zarzuca mu niezręczność. Demonstracye — ma się rozumieć — potępia, zwłaszcza śpiewy pobożne a patryotyczne po kościołach nazywa środkiem „nieuczciwym“ i „obrazą Boską“. — Nie chodziło bowiem o uproszenie łaski Boskiej, lecz o drażnienie rządu i ludności, która — jak sam zresztą pisze — „myślała, że jakąś pomoc Boską, jakiś cud wyprosi i wymodli“.

Dziesięć stron dalej, wspominając przychylność Piusa IX dla powstania, opowiada, iż Papież „ogłosił po całym świecie jubileuszowe odpusty i modły na intencyę Polski“, a w Rzymie uroczystą na ten cel urządził procesyę. Czy i to było „obrazą Boską“ i środkiem „nieuczciwym“ — nie objaśnia. Ojca św. nazywa przyjacielem „dobrej sprawy“, z czego wynikałby chyba ten wniosek, że Włochom i wszelkim innym narodom o zmartwychwstanie Polski modlić się wolno, — Polakom zaś nie . . . . Zasada istotnie osobliwa.

Głównym powodem powstania było: „że nie chcieliśmy przestawać na jakiejś tam ugodzie z Rosyą, bo nam się zdawało, że prędzej czy później przyjdą takie wypadki, które nas od niej oderwą. Ale wyrachowanie było złe! „Takie wypadki, jeżeli w przyszłości przyjść miały, to byłyby przyszły i tak.“ — To znaczy chyba, że nad oswobodzeniem kraju pracować powinien ktokolwiek, byle nie Polacy, że rolą ich powinnna być absolutna bierność i bezczynne oczekiwanie, póki wolności nie odzyskają przypadkiem. Wypadków, przychodzących przez się, nie wywołanych przez ludzi, w całym ciągu dziejów nie pamiętamy, przypuszczać więc nam trzeba, że sprowadzić je miała interwencya państw innych i że na nią autor liczyć nam każe. I to nie, jednak — czytamy bowiem dalej — taką z przebiegu powstania wysnutą naukę: „nigdy na obcą pomoc liczyć nie należy, ani się na nią oglądać, bo ona zwykle zawodzi. Ludzie, jeżeli pomogą, to mocnemu jeszcze czasem, ale słabemu nigdy. Na siebie tylko można liczyć śmiało i pewnie“.

Mimo najszczerszych chęci uważny czytelnik pragnący jakieś wskazówki z dziełka p. Tarnowskiego wyciągnąć, trudzić się będzie daremnie: Raz każe nam liczyć na niezależne od nas „wypadki“, innym razem na „siebie“, — o cud prosić „nie godzi się, sił trwonić nie należy“; — jeśli nam poleca czekać cierpliwie — to zaraz wkrótce odbiera wiarę w to, abyśmy się czegoś doczekać mogli. I tak źle i tak nie dobrze.

Całe dzieje powstania zawarł na jednej stronicy, — ze trzy stronki poświęca rokowaniom dyplomatycznym.

Z uczestników powstania, czy wodzów, czy też członków rządu narodowego lub organizacyi nie wymienia absolutnie żadnego, nie wspomina też ani jednej bitwy, ani jednego ważniejszego wypadku. Chociaż powstanie 1863 r. nie było wojną na wielką skalę, lecz partyzancką ruchawką, choć sławnych kierowników nie miało, to jednak byli tam ludzie, wyróżniający się odwagą i poświęceniem, ludzie zasługujący na wzmiankę więcej np. niż nieznany syn Pawła Popiela, śp. Jan Popiel, który — jak w książeczce pana Tarnowskiego czytamy — zginął w jednej z utarczek między wojskiem papieskiem a Garybaldczykami. Dla czytelników polskich dzieje powstania polskiego większy przecież przedstawiają interes niż wewnętrzne włoskie zatargi, większy niż familijne sprawy galicyjskiej arystokracyi, niż wesele krakowskie, któremu przyglądał się cesarz Franciszek Józef w roku 1880, najpierw z balkonu pałacu „pod Baranami“, potem w Sukiennicach, „dokąd pobiegł bez płaszcza, tylko w mundurze“. Ale z punktu widzenia p. Tarnowskiego wesoła zabawa, na cześć jego cesarskiej mości urządzona, przedstawia się jako fakt poważny, godny uwiecznienia w dziejach; uważa on nawet za słuszne zaznaczyć, że drugie wesele huculskie, na które cesarskie oczy spoglądały tegoż roku w Kołomyi, na prawdę do cerkwi pojechało i ślub wzięło.

Wobec tych doniosłego znaczenia wypadków bohaterstwo młodzieży, która krew na polu bitew przelewała, męczeńska śmierć mężów powieszonych na stokach cytadeli, — jest w jego oczach drobnostką, niegodną wzmianki.

Oto jak dzieje narodu naszego rysują się przed wzrokiem dostojnego hrabiego, gdy na nie spogląda z tej wyżyny, z której do nas „zstąpić“ raczył.

O ile treściwemi są dzieje powstania, o tyle obszernym opis prześladowań rosyjskich po jego upadku. Tu naturalnie chodziło o dwie rzeczy: o wykazanie złych skutków lekkomyślnej walki i o wywołanie jak najgorętszego uwielbienia dla austryackiego rządu przez jaskrawsze uwydatnienie kontrastów.

Z okazyi kulturkampfu wspomina nareszcie autor i dzieje pruskiego zaboru. Dotychczas książeczka zawierała tylko — prócz dwóch krótkich wyżej cytowanych wzmianek — uwagę, odnoszącą się do epoki po wiedeńskim kongresie. Z niej dowiedział się czytelnik, że nie działo się tam ani źle, ani dobrze, i że namiestnikiem był książę Radziwiłł z księżniczką pruską ożeniony. Po za tem — nic. Cała historya naszej dzielnicy przemilczana zupełnie. Jakim był nasz los, nasze położenie, jak z nami postępowano, co uczyniliśmy sami, to wszystko pozostaje dla czytelników tajemnicą. A jednak w ciągu tego całego długiego okresu w życiu naszem poważne zachodziły zmiany; stosunek nasz do rządu różne przechodził koleje, mieliśmy epoki żywszego narodowego ruchu, mieliśmy zasłużonych mężów, jak Marcinkowski, tworzyliśmy narodowe instytucye, które potem inne dzielnice na swój grunt przenosiły. To wszystko przecież zasługiwało choćby na krótkie sprawozdanie....

Jeżeli p. Tarnowski uważał za słuszne rozszerzać się nad tem, co w Galicyi dzięki dobrodziejstwom rządu austryackiego uczyniono, toć o wiele więcej pouczającem byłoby opowiadanie tego, co u nas mimo niełaski pruskiego rządu uczynić zdołano. Tymczasem wbrew wygłoszonej zasadzie, że należy nam samym na siebie liczyć, siły skupiać, wzmacniać się i t. d. — opowiada ludowi dzieje nasze w ten sposób, jak gdyby los nasz wyłącznie od osobistego charakteru i przymiotów panujących nam monarchów zależał.

Opowiadanie swe o prześladowaniach, jakie pod rządami Bismarcka religia nasza i narodowość znosić musiały, kończy apoteozą rządów Wilhelma II (któremu — jak się od dostojnego autora dowiadujemy — Leon XIII bardzo dobrych rad o postępowaniu względem Polaków udziela) i gorącym pokłaskiem dla posłów naszych, których głosowaniu za reformą wojskową bardzo doniosłe i korzystne dla kraju przypisuje znaczenie. Nie obeszło się naturalnie bez ostrej reprymandy dla malkontentów. Owi „niby to wielcy miłośnicy ojczyzny i ludu, a na prawdę przewrócone głowy i przewrotne duchy starają się wmawiać w lud po miastach i w...ach, że spokój i porozumienie z rządem, to zdrada ojczyzny. Podkopują tedy wszelkiemi siłami wpływ

---

leczny, ten sanskulota! Przyznam ci się, że podobne zdanie nie dziwiłoby mnie w ustach jakiej tam miejskiej panny, ale ty.... ty w ekstazie dla tego Robespierre'a. To więcej jak dziwne (*wzdryga ramionami*).

MELANJA.

Może dziwne, ale nie myślę się wypierać moich sympatyi, które zresztą podziela i... Marta.

WARECKI.

Marta?

MELANJA.

Tak.... ją właśnie.... zamierzałam....

WARECKI.

Co się tu stało?.... No! mówże!

MELANJA (*zaambarasowana*).

Kiedy.... ej! nic już nie powiem.

WARECKI.

Żądam wyjaśnienia. Marta jest córką moją.

MELANJA (*po krótkiej chwili wahania*).

Dobrze więc. Wolski oświadczył się przed tygodniem o rękę Marty.

WARECKI (*wybucha śmiechem*).

Zwaryował! (*z nagłym przestrachem*) Ale.... jakto? Ona mu drzwi nie pokazała?! Co się tu stało? Czy wy obie postradałyście zmysły?

MELANJA (*z naciskiem*).

Marta kocha Wolskiego.

WARECKI.

Co? I ty przypuszczasz, że ja się zgodzę? I ty sądzisz, że ja nie znajdę odwagi, aby w puch rozbić fantazye dziecinne, a jego posłać do oficyn moich po żonę?

MELANJA.

Wuju!

WARECKI.

Ani słowa! Ja stoję na straży rodu Wareckich i spełnię mój obowiązek. Czy kto wie o tem wszystkiem?

MELANJA.

Nikt.

WARECKI.

To dobrze. Jabym się spalił ze wstydu.

MELANJA.

Sądzę jednak, że Marta kocha za szczerze, by usłuchać wuja. To natura skłonna do uniesień i egzaltacyi. Niech wuj zatem dobrze rozważy, bo ona gotowa przypłacić to zdrowiem, albo....

WARECKI.

Albo?

MELANJA.

Skandalem.

WARECKI.

Z miłości nikt nie umiera, a skandal.... (*wzdryga ramionami*) to już mnie pozostaw. Jestem ci bardzo wdzięczny, że Martę przez całą zimę i wiosnę w domu swoim gościłaś, ale powiem ci otwarcie: Spodziewałem się innych rezultatów po karnawale i konkurentów innych jak tacy Wolscy. Przecież znasz moje stosunki.

MELANJA.

Ja serc sprzedawać nie umiem. To nie kawał mięsa.

WARECKI.

A może to kokarda demokratyczna. Ale ja popsuję panu sanskulocie apetyt na szampana. Ostrygi dla chłopa! Wyśmienicie!

MELANJA.

Więc to ostatnie słowo twoje, wuju?

WARECKI.

Ostatnie.

MELANJA.

Wuju....

WARECKI.

Przestań już. Idę rozprawić się z Martą. (*Wolski staje w drzwiach po lewej stronie.*) Warecka za Wolskiego! to arcykomiczne! (*zwraca się ku drzwiom*).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

i powagę tych ludzi, którzy dotąd sprawy Wielkopolski i w kraju i w Berlinie mimo wszelkich trudności roztropnie i szczęśliwie bronili".

Pan Tarnowski naturalnie informacye swoje czerpał wprost od naszych panów ugodowców. Dziś, gdy zupełnie niespodzianie nie przez nas wywołany zwrot w Berlinie nastąpił, gdy już i pruscy ministrowie otwarcie wyznają, iż o żadnych ustępstwach dla Polaków, o żadnem wynagrodzeniu ich lojalizmu nawet nie myślano, gdy polityka ugodowa zdyskredytowana kompletnie do niezaprzeczonego doszła bankructwa, pana Tarnowskiego metoda popierająca „wpływ i powagę tych ludzi, którzy w Berlinie spraw kraju bronili", wraz z nią ośmiesza się tylko i upada.

Opowiadanie ostatniej epoki dziejów Galicyi zajmuje stosunkowo najobszerniejszy rozdział książki, co jest zresztą zupełnie usprawiedliwionem ze względu na jej domniemanych czytelników. W opowiadaniu tem jednakże lwią część stanowią życiorysy „wielkich mężów", jakich ta dzielnica wydała, reszta jest apoteozą ich działalności i rządów.

Bez wątpienia pożytecznem jest wykazanie ludowi korzyści, jakie ze swobód konstytucyjnych kraj wyciągnąć zdołał, ponieważ jednak — o ile wiemy — Galicya nie jest jeszcze wyspą szczęśliwości, ponieważ lud jej, lepiej niż my stosunków miejscowych świadomy, wątpliwości na tym punkcie nie ma i mieć nie może, stanowiłoby może dla niego niejaką pociechę, że ci, którzy ster jego losów dzierżą, z wad i braków sprawę sobie zdają, odczuwają je i do usunięcia ich dążą. Bezwzględne uwielbianie wszystkiego, co się uczyniło lub czyni, nie zamknie im oczu na codziennie odczuwane cierpienia, raczej wzbudzi w nich pewną nieufność względem tych, dla których czcią czołobitną i ślepą wiarą natchnąć pragnęło. I pod tym względem więc przypuszczać można, że cel książeczki i to cel główny chybionym zostanie.

Zważywszy, że książka o historyi traktująca, a będąca z prawdą historyczną w rozbracie, nie może być ani czynnikiem oświaty, ani źródłem wiadomości pożytecznych, nie możemy się łączyć z hołdem dziękczynnym, który feljetonista z „Dziennika" wszystkim sercom polskim suggerować pragnie, — głęboko przekonani, że tym razem „Z n o j e" pana Tarnowskiego poszły na marne.

I. Moszczeńska.

Napoleon I i Marya Walewska.

W głośnem dziele Fryderyka Masson p. t. „*Napoléon et les femmes*" (Paris, éditeur Ollendorf. 1894.) znajdujemy wiązankę ciekawych szczegółów o stosunku „wielkiego parweniusza" do pani Maryi z Łączyńskich Colonna Walewskiej.

Czy w książce p. Masson obszerny rozdział, poświęcony pani Walewskiej, całkowicie zgadza się z prawdą, czy niektóre, zbyt może romantyczne tegoż epizody, z rzeczywistości, czy też i z bujnej wyobraźni autora pochodzą, o tem niech orzekną historycy z zawodu. My, czerpiąc dziś przeważnie z książki p. Masson, treści tejże bądźcobądź musimy się trzymać, jakkolwiek są tam ustępy, tak dla polskich panów uwłaczające, że się na nie żadną miarą zgodzić nie można bez stanowczych i autentycznych dowodów, których autor nie podaje.

Owóż więc, gdy w początkach roku 1806 Napoleon z Pułtuska udawał się do Warszawy, na jakiejś małej stacyi, gdzie konie zmieniał, zastąpiła mu drogę młoda, piękna, uwielbieniem dla bohatera rozpromieniona amazonka. Powitała cesarza gorącemi słowami — ogólnego wówczas w Polsce — zapału. „Ze wszystkiego, co mamy zamiar dla waszej cesarskiej Mości w kraju uczynić, nic nie dorówna nigdy doznanemu przez nas szczęściu, że go na polskiej ziemi witać możemy.". Każdy polak z owych czasów byłby równie entuzyastycznemi wyrazami Napoleona witał, ale wyrazy te, pochodzące z ust kobiety ładnej, jak w obraz święty w cesarza wpatrzonej, nabierały jakiejś rzewnej serdeczności, jakiegoś nieopisanego wdzięku, pełnego znaczenia dla władcy, chcącego i umiejącego polaków oczarowywać. Podał więc Napoleon młodej amazonce bukiet, żądając, by mu za kwiaty podziękowała... w Warszawie.

Marya z Łączyńskich Colonna-Walewska, w siedemnastym roku życia niemal przemocą wydana za starszego o całe pół wieku od niej milionowego pana, smutny pędziła żywot na zamku w Walewicach. Jedyną jej pociechą był kilkoletni jedynak, dla którego o wszelkich marzyła powodzeniach, o wszelkich zaszczytach, o wszelkiem szczęściu. Tem to powodowana uczuciem, umyśliła ona złożyć Napoleonowi po drodze hołd swój osobisty, zanim urzędowe przyjęcie w stolicy nada entuzyastycznej recepcyi charakter narodowej manifestacyi. I ztąd wynikło owe wśród pól i lasów spotkanie na stacyi w Broniach.

Ale oddawszy tak cześć cesarzowi, pani Walewska cichaczem do Warszawy powróciła i jedynie siostrę swą Jabłonowską do sekretu wtajemniczywszy, i, o ile być może, od wszelkich oficyalnych usuwała się recepcyi. Z natury nieśmiała, nie znająca i nie lubiąca świata, o tyle tylko widywała ludzi, ile tego mąż od niej wymagał. Pokazało się wszakże niebawem, że dyskrecya siostry była ułudną. Opowiedziała ona bowiem najbliższym krewnym „pod wielkim sekretem" wycieczkę ową pani Walewskiej i spotkanie z Napoleonem, krewni zaś ci swoim znów krewnym wiadomość tę udzielili, i tym sposobem z nitki do kłębka doszła rzecz cała aż do księcia Józefa Poniatowskiego. Tenże umyślił wówczas zaraz uknuć spisek, by młodą kobietę, dotąd w towarzystwie warszawskiem niemal nieznaną, w wir świata wciągnąć i tym sposobem zaraz na wstępie przypodobać się cesarzowi. Jął zatem tłomaczyć p. Walewskiemu, że żona człowieka, mającego taką, jak on, społeczną pozycyę, nie powinna się odsuwać od oficyalnych recypcyi, danych dla cesarza. Ale pani Walewska ani słyszeć o tem chciała, i trzeba było aż z małżeńską wystąpić powagą i wyraźnym rozkazem, aby się nazajutrz zaproszona na bal udała. Jak najskromniej ubrana, by tylko na siebie nie zwrócić uwagi, jedzie tedy z mężem pod „Blachę". Uradowany na widok wchodzącej pary książę Józef, zaraz na wstępie zaczyna się półgłosem z panią Walewską przekomarzać, szepcąc, „że ją cesarz dostrzegł, gdy tylko do sali weszła... że sobie kazał po dwakroć nazwisko jej powtórzyć... że, spostrzegłszy jej męża, rzekł z serdecznem politowaniem: Biedna ofiara! i t. d." Tymczasem naokoło młodej kobiety roją się najświetniejsze mundury z owego tak świetnego cesarskiego sztabu, co spostrzegłszy Napoleon, postanawia odrazu najbardziej pani Walewskiej nadskakujących oficerów z Warszawy wydalić. Jednemu każe jechać bez zwłoki z rozkazami do Wrocławia, a drugiego aż do samego Paryża z depeszami wysyła, sam zaś, nie chcąc młodej, nieśmiałej kobiety płoszyć, mówi z nią mniej, niż z innemi, ale mówi „inaczej", pół szeptem, jakby wzruszonym głosem. Zaniepokojona, ale przecież w niewinności swej żadnego nie przypuszczając niebezpieczeństwa, pani Walewska, z balu do domu wróciwszy, zastaje na toalecie list następującej treści:

„Nie widziałem, tylko ciebie. Nie podziwiałem, tylko ciebie. Nie pożądam, tylko ciebie. Odpowiedzi bardzo szybkiej błaga, by ukoić niecierpliwe uczucia. *N.*"

Z najwyższem oburzeniem list do kominka wrzuciwszy, nie domyśla się nawet, ludzi i świata nieświadoma kobieta, że jej spokój zakłócony już zostanie na zawsze, że na takowy nietylko sam Napoleon nastawać będzie, że odtąd nowa w życiu jej rozpoczyna się epoka, w której pod stopami jej róże rosnąć będą, ale zawsze już srogich kolców pełne. A tu też znowu dodać winniśmy, że cały następujący z kolei opis tej karty z życia Napoleona w książce p. Masson, podać należy z zastrzeżeniem, twierdzenia jego bowiem żadnemi nie poparte są dokumentami

JAROGNIEW.

Chora miłość.

(*Dokończenie.*)

Gdy poruszyłem się raz gwałtowniej, myślała może, że mi się znudziły te pieszczoty długie, — wyprostowała się zwolna, schwyciła mnie za ręce i spojrzała w oczy pytająco, prawie trwożliwie, prawie ze smutkiem, i jakby mi mówić chciała:

— Nie gniewam się na ciebie, że przerywasz pieszczoty nasze, — przecież na ciebie gniewać się nie mogę..

— Czy chcesz? może ci śpiewać? — rzekła i już powstała, aby iść do fortepianu.

Śpiewać? — Czemuż schwyciłem ją w pas wtedy i zacząłem mówić szybko, natarczywie, aby nie śpiewała, aby tylko nie śpiewała? —

— Czemu?! — Może byłoby inaczej dzisiaj, gdybym zasłyszał głos jej wtedy. — Przeczucie jakieś ostrzegało mnie. Bałem się, aby jej śpiew szalony nie wywarł na mnie znowu swojego czaru, — aby mi nie pomieszał zmysłów, nie upokorzył, zmiażdżył, unicestwił mnie. — Tak mi było dobrze z tą przewagą nad nią, — a ten śpiew, ten śpiew napełniał mnie strachem a duszę moją walką rozpaczliwą.

Jednak ja jestem podły, — podły nędznik. Dosyć mi tej komedyi, dosyć udawania przed samym sobą, — nie będę kłamał teraz wobec siebie, — niech świat się zapadnie, niech mnie dyabli wezmą: jestem podły, nędzny!

Brutalnie pragnąłem nad nią panować, — jedyną miała broń, którą upokorzyć, zdeptać w proch mnie mogła: śpiew cudny, nadziemski. Więc brutalnie broń tę jedyną jej odebrałem, a ona, ten anioł, ta święta, poddała się woli mojej i złożyła na mojem ramieniu główkę z takiem zaufaniem bezgranicznem, z taką wiarą w moje serce, — o, gdyby ona wiedziała, jakie uczucia w niem były!

Mówiła, że jego bicie spokojne, jak dziecię, do snu ją ukołysze. Ido, w niem nie było spokoju, wrzała w niem burza dumy, pychy i strasznej.... strasznej . . . . . nie wiem, nie wiem czego — boję się wyznać.

Bo teraz znam, rozumiem swoje chęci, na dnie mojej duszy leżało coś, jakby pragnienie odwetu, zemsty za te męki, które przebyłem dla niej. Tyle katuszy wycierpiałem, więc pragnąłem widzieć ją ciągle taką słabą, taką niewolnicą mojej woli, jaką była wtedy, — bo rozkosz sprawiała mi myśl, że ona, przed którą kiedyś w proch padałem, dla mnie zupełnie wyrzekła się siebie. Chciałem, aby choć w części pojęła, co ja biedny przebyć musiałem; więc nieraz potem, gdy byłem u niej w następne dnie, i siedziała taka spokojna, cicha, marząca obok mnie, przychodziły mi myśli szalone do głowy. Prawie bałem się tych pokus, ale szeptało mi coś wyraźnie w duszy: — ach, dyabli, wstręt to we mnie wzbudza, były to głosy takie znikąd powstające, jakby nie moje, jakby mi je obcy duch podsuwał.

Dlatego nic, nie — ja zawsze ją uwielbiałem, teraz widzę, jak dotąd ją kocham. Całowałbym jej rączki białe i szeptał o tem co piersi mi rozpiera; — gdybyś ty była zemną, gdybyś ty była.

Tylko ta wyższość nad nią poddawała mi rolę jakąś szorstkiego, nieczułego kochanka, a roli tej porzucić nie umiałem na swoje nieszczęście. Miałem czasem chwile, w których byłbym padł przed nią na kolana i łzami się zalał i błagał tę świętą o przebaczenie, — ale ten duch mon wściekły, ten duch przeklęty we mnie mroził słowa moje i robił mnie szorstkim i brutalnym.

I właśnie w chwilach, kiedy wyczerpane, jakby śpiąca, leżała w moich objęciach, kiedy pragnąłbym duszę jej oddać w pocałunku, stawałem się sztywnym, marszczyło mi się czoło i począścięj ruchem jakim gwałtownym przerywałem pieszczoty nasze.

Wtedy spoglądała mi prosto w oczy trwożliwym, niespokojnym wzrokiem, jakby się lękała, że mnie straci kiedyś; — a taki smutek widniał w nim i na ustach drżących, jakby płaczem, że skałęby poruszyła tem swojem spojrzeniem. A ja czułem, że serce mi topnieje na jej widok i byłbym

żadnym listem, ani bodaj podpisem autor ich nie poświadcza.

Owóż więc — pisze p. Masson — co tylko było w Warszawie ludzi światłych, zacnych, poważnych, kraj swój miłujących, nagabywało młodą kobietę, aby sobie cesarskich hołdów nie lekceważyła. Gdy się pani Walewska wymawia migreną, by nie być obecną na obiedzie dworskim, „jeden z najstarszych i najbardziej szanowanych członków rządu krajowego“, a którego tylko autor nazwać nie raczy, ostrym odzywa się do niej głosem: „Wobec tak ważnych dla całego narodu okoliczności, wszystko ustępować winno. Do godziny obiadu należy się pozbyć migreny. Jedynie obecnością swoją dowieść pani możesz, że jesteś dobrą polką“. Na tę samą nutę odzywa się i pan Walewski, z całą dobroduszną ślepotą zaufanego a starego męża. Składa się zatem wszystko na zgubę ośmnastoletniej kobiety, wszystko, z wyjątkiem — jak dotąd — jej własnego serca. Póki czuje, że serce to jest wolne, będzie się też pokusie opierać i mężnie sławy swej bronić, ale z dniem, w którym takowe postrada, zwycięztwo będzie po stronie cesarza i jego „zacnych“ popleczników. I gdyby to nawet na rodzaj sprzeczności nie wyglądało, możnaby prawie powiedzieć, że pani Walewska nietylko w ciągu owej walki wewnętrznej, ale nawet po zaprzestaniu tejże, niezwykłą w takich okolicznościach okazała szlachetność i wyższość uczuć, nigdy bowiem żadna nie kierowała nią myśl ambitna, ani żądza osobistego wywyższenia. Uległa Napoleonowi dopiero, gdy go pokochała, a pokochawszy, wszystkie, iście po kobiecemu, dojrzala w nim umysłowe i duchowe doskonałości. Jeżeli też do kogo, to do pani Walewskiej zastosować się daje z pod polskiego pióra wyszły piękny dwuwiersz:

Nie ma większej rozkoszy na ziemi i niebie,
Jak znać, czcić i kochać wyższego od siebie.

Nigdy nie był się dotąd Napoleon spotkał z tak bezinteresowną, niemal idealną miłością. Jemu, któremu na świecie nic już imponować nie mogło, zaimponowała wielkoduszność tej polskiej pani, dla siebie nic zgoła przyjąć nie chcącej, lecz dopominającej się uporczywie, namiętnie o dotrzymanie danej obietnicy względem kraju. Czy wdziękiem i wrodzoną dystynkcyą pani Walewskiej, oraz coraz to gorętszem dla niej uczuciem oczarowany, w samej rzeczy dawał jej Napoleon takie solenne przyrzeczenia, jak to p. Masson stanowczo twierdzi, rzecz to trudna do skonstatowania, skoro tajemne schadzki ich nie miały świadków. Co wszakże dowiedzionem jest na pewne, to, że znany już stosunek cesarza z piękną polką, mnogie rozbudził w kraju nadzieje, ale niestety! i niemniej mnogie osobiste ambicye. Co do pana Walewskiego najprzód, to ten z właściwem w takich wypadkach zaślepieniem, w hołdach jego żonie przez cesarza oddawanych, widział tylko potwierdzenie jej niezrównanego wdzięku i zadatek nowej a świetnej dla kraju przyszłości. Gdy zaś nadejdzie dzień, w którym nawet ten poczciwy, dobroduszny mąż jasno wreszcie przejrzy i do Walewic wyjedzie, sytuacya separowanej z nim żony nie będzie miała owego rażącego charakteru nieprawidłowego a zdrożnego położenia. Pamiętać też należy, że piętno XVIII wieku jeszcze się nie było w Polsce całkiem zatarło, o czem świadczą liczne w owym właśnie czasie rozwody, a nadto, że p. Walewska odznaczająca się charakterem wyższym od innych kobiet, w jej położeniu będących, własnemi ambitnemi widokami nikomu drogi nie zagradzała, i ani cesarskim kochankiem, ani otaczającemi go osobistościami wszechwładnie rządzić nie pragnęła. Według słów p. Masson „wcielała ona w sobie wszystko, co jest najwdzięczniejszego i najszlachetniejszego w polskim narodzie“.

Przy niebawem rozpoczynającej się nanowo kampanii, pani Walewska Napoleonowi towarzyszy natychmiast aż do Finkenstein, gdzie w starożytnym ponurym zamku spędza kilka niewesołych miesięcy, nikogo jej bowiem przyjmować niewolno, a Napoleon, prowadzeniem wojny zajęty, zaledwo raz na dzień może do Finkenstein zaglądać. W nadziejach też swych coraz głębiej zawiedziona, upokorzona przeświadczeniem, że marzenia, którym honor swój poświęciła, pozostaną marzeniem, pani Walewska nie zgadza się na żądanie cesarza, aby mu do Paryża towarzyszyć w r. 1808, a czyni to naturalnie w końcu tylko o tyle, o ile kobieta rozkochana jest w stanie mieć wolę przeciwną woli tego, którego miłuje. Przelotny wyraz smutku na twarzy bohatera, odblask łzy w oku starczą tedy, by rozwiać całą budowę jej postanowień; jedzie więc z nim do Francyi, a i później podąża za Napoleonem do Schönbrunn, by się tam upajać promieniami z dnia na dzień wzrastającej, a dotąd w dziejach świata niewidzianej sławy olbrzymiego zdobywcy Europy. W maju roku 1810 p. Walewskiej rodzi się syn, znany późniejszy minister Napoleona III. I matka i dziecko największą są otoczeni troskliwością, a do troskliwości tej chciałby cesarz dołączyć i wszelki możliwy zbytek, lecz pani Walewska rozrzewnionem sercem za pierwszą tylko dziękuje, drugi zaś stanowczo i stale odrzuca. Ubiera się gustownie, ale skromnie: klejnotów nie nosi, bo swoich nie ma, a cesarskich nie przyjmuje. Dużo później dopiero miała się dowiedzieć o zapewnionym dochodzie 50,000 franków dla jej syna.

Gdy zaś niebawem czarne nagromadzą się nad cesarstwem chmury i zasłonią ową tak długo, tak jaskrawo świecącą gwiazdę Napoleona, gdy cesarzowa Marya-Ludwika zamiast los męża dzielić, nieobecnością i zupełnem brakiem wiadomości o sobie i synu, do tylu krwawych cierni jeden jeszcze, i to nie najmniej dolegający, doda, gdy Napoleon, niemal od wszystkich opuszczony, w niedoszłem samobójstwie dla skołatanej duszy ujścia szukać zamyśla, wtedy spłakana i srodze strapiona pani Walewska, całemi dobami przy drzwiach jego siedzieć będzie, wyczekując chwili ukazania się umiłowanej postaci cesarskiego kochanka. Tak było w Fontainebleau, i tak samo będzie na wyspie Elbie, gdzie szlachetna polka, wraz z synkiem, ponury pobyt cesarza obecnością swoją osładza. Wszystkie też te dodatnie wyższe strony jej duszy stwierdziwszy, niemal z żalem w końcu dodać przychodzi, że zaledwo w rok po wywiezieniu Napoleona na wyspę św. Heleny, a we dwa lata po śmierci własnego męża, pani Walewska w powtórne weszła małżeńskie związki, oddając rękę hrabiemu d'Ornano, świetnemu oficerowi „wielkiej armii“. Jeden z nielicznych towarzyszy cesarskiego wygnańca na dalekim oceanie twierdzi, że Napoleon, który nie przypuszczał, aby istota przez niego kochana, mogła kiedykolwiekbądź innego ukochać, zachowawszy przytem najczulsze w głębi serca dla pani Walewskiej wspomnienie, gdy się dowiedział o jej powtórnem małżeństwie, doznał wrażenia, że mu się sprzeniewierzyła i boleśnie tem był dotknięty. Ale tymczasem niedługo miał trwać ów powtórny pani Walewskiej związek, już bowiem w rok po ślubie, hrabina d'Ornano, powiwszy syna, zmarła w Paryżu dnia 15 grudnia 1817 roku. *L.*

Listy z Paryża.

(*Skandynawska i niemiecka literatura w Paryżu. Lemaître, jako pisarz dramatyczny. Daudet, Gyp i Lavedan. Dążenia emancypacyjne kobiet francuzkich. August Vacquerie.*)

Rzec można, iż dopiero od lat kilku Francuzi interesować się poczęli cudzoziemskim ruchem literackim. Początkowo zapoznali się z powieściami Turgeniewa, stale aż do śmierci mieszkającego w Paryżu, tłomaczono następnie na język francuzki innych rosyjskich autorów, obecnie zaś, jakkolwiek mistycyzm Tołstoja dość licznych znajduje zwolenników pomiędzy tutejszą publicznością, rzucono się przeważnie ku wielbieniu pisarzy skandywskich, to jest Ibsena,

---

się wpił w jej usta pocałunkiem i każdą myśl o łzach z nich wycałował, ale tak mnie jakieś więzy w naszym stosunku omotały, że mnie ta czuła rola wobec niej prawie wstydziła, i zwalczałem te pokusy urocze i pozostawałem na pozór niewzruszonym, trzpiotowato wesołym i sztucznie swobodnym. Może wstydziłem się wzruszenia każdego, — aby mi znowu, jak kiedyś, nie powiedziała: tyś taki biedny, taki chory. —

Ido, — ja siebie nie pojmuję, nie rozumiem, ja nie wiem, co mi było, ale już wtedy zaczęły się znowu dla mnie zgryzoty jakieś i bóle, których sam sprawcą byłem. Doprowadziły one do tego, co się stało owego okropnego dnia, ale ja za to niewinien, niewinien.

Było to krótko przed wieczorem; — gdy szedłem do niej, zachodziło słońce w krąg czerwony i jaśniało takiem weselem...., — ale zdaje mi się, że było coś w tem uczuciu, co mi mówiło, że to ostatnie w mojem życiu wesele. — Czemuż tego tak jasno nie poznałem wtedy! —

Była tego dnia jakoś dziwnie podraźnioną i zarzuciła mi ręce na szyję i wpatrywała się długo we mnie, a po jej twarzy przechodziły jakieś kurczowe błyski. Odwróciła potem oczy odemnie i wpatrzyła się gdzieś w przestrzeń bezbrzeżną, — a była tak dziwnie podraźnioną.

— Wiesz ty, — rzekła po chwili, jakby we śnie czy w malignie, a nie wiem, skądś w niej myśli te się brały, — wiesz ty, o czem myślałam teraz? Myślałam, cobym zrobiła, gdyby mi ciebie wzięli; umarłabym pewno — a może by mi serce nie pękło? Podobno wielka boleść nie zabije, tylko zatruje życie. — Nie wiesz ty nic o tem? — Co — nie wiesz? —

I wstrząsnął nią dreszcz, a ja udawałem swoję szorstką swobodę i wesołość, choć na dnie duszy było mi tak smutno, tak smutno? —

— Ale ty mnie nie opuścisz, prawda? — Ja wiem, że ty także umarłbyś bezemnie, choć czasem jesteś taki niedobry, — mówiła potem i przytuliła się do mnie i zaczęła twarz moję okrywać pocałunkami.

Oddech jej upajał mnie, pieszczoty stawały się coraz gorętszemi, aż w końcu, jak wyczerpana, z oczyma błyszczącemi, jak po śnie głębokim, złożyła czoło na piersiach mych, jak codnia, tylko bardziej rozmarzona, miękka, jak codnia. — Wywierała na mnie wpływ upajający zmysły, odurzała mnie.

Mną jakieś rozszalałe uczucia targały. Rzewność, współczucie, uwielbienie, miłość, żal i duma ta moja i wyniosłość, — to wszystko odzywało się wemnie i wytwarzało jakąś burzę, — że zacinałem zęby z bólu. — Raz byłem bliskim omdlenia, — to znowu zwyciężał wemnie na chwilę ów brutalny człowiek. Potrzeba mi było wtedy burzy, walki, strasznej walki, zapasów olbrzymich, w którychbym wszystkie siły ducha wytężyć musiał, aby zdławić ten niepokój wewnętrzny. — Aż zmitrężony w końcu, przyprowadzony do ostatka, żachnąłem się gwałtownie, i uwalniając się z objęć jej, nie wiedząc sam jeszcze po co, jakby wiedziony potrzebą wewnętrzną, zacząłem ją prosić, aby mi śpiewała tę samą pieśń, co wtedy, — tę szaloną, — jak huragan dziką.

Niech się to skończy raz, — myślałem, — nie zniosę dłużej tego położenia nienaturalnego, tego kłamanego stosunku.

Ona spojrzała na mnie, w pierwszej chwil strwożona, prawie krzykła z przestrachu, gdy tak nagle się porwałem. — Potem, gdy pobiegłem do fortepianu i zasiadłem na taburecie, aby jej akompaniować, — znowu przymknęły się powieki jej, — wstała wolno, i splatając ręce w tyle głowy leniwie, była jakby ze snu przebudzona.

— Śpiewać mam, śpiewać, — szeptała, jakby nawpół przytomnie.

Zbliżyła się do fortepianu i stanęła za mną. Z początku śpiew jej rozlegał się bez owej zwykłej mocy. „Vivra, contende il giubilo“ wydobywało się z piersi jej przytłumionym głosem, jakby przezwyciężać się musiała. Zwolna jednak, jakby dźwięki własnego jej głosu działały porywająco na nią, śpiew jej potężniał coraz bardziej, — zdawało mi się, że widzę, jak za mojemi plecami prostuje się dumnie, jak oko jej nabiera blasków błyskawicy. W małym pokoiku giełczało coraz to potężniej. Słuchałem cały w oczekiwaniu, silniejsze tony zaczęły porywać mnie znowu swoją potęgą i budzić w mojej duszy jakby de-

Strindberga, lub niemieckich jak Hauptmanna, lub Sudermanna. Przetłomaczono skutkiem tego kilkanaście powieści i utworów dramatycznych z rosyjskiego, szwedzkiego i niemieckiego. Jest to dość ograniczone zapoznanie się z literaturą tych trzech narodów, wszakże francuzki szowinizm uląkł się tego wdzieranie się barbarzyńców, zaczęto nad tem boleć, rozważać, wreszcie orzeknięto, iż żaden z owych cudzoziemskich autorów nie posiada odrębnej oryginalności, i że każdy z nich wszystko zawdzięcza temu lub innemu mistrzowi francuzkiej literatury. „Po stu lub pięćdziesięciu latach, powiada p. Juljusz Lemaître, podają nam przyrządzone na swój sposób ideje J. J. Rousseau, Balsac'a lub George Sand. Kiedyż się skończy ta nasza północomania? Czas się opamiętać i odwrócić od tych autorów tumaniących nas mgłą i mrożących śniegiem.“

P. Juliusz Lemaître powstrzymując swych rodaków od zapoznawania się z obcą literaturą, oddaje im usługę bardzo wątpliwej wartości, a stanowisko przez niego zajmowane nadaje doniosłość jego słowom; Juliusz Lemaître bowiem jest jako krytyk uważany za następcę Sainte-Beuve'a; każdy jego artykuł jest przedrukowany chociażby w wyciągach tylko przez główniejsze dzienniki, a każdy jego utwór wystawiany na scenie, stanowi epokę. Tej zimy, przed paru tygodniami, Teatr Komedyi francuzkiej i Teatr Gymnase, wystawiły prawie równocześnie dwie nowe sztuki Juliusza Lemaître: „L'âge difficile“ oraz „Le Pardon“. W pierwszej z tych sztuk (cieszących się dość umiarkowanem powodzeniem) autor chciał udowodnić, iż ludzie starsi wiekiem, powinni dobrowolnie się zrzekać chęci kierowania dorosłemi swemi dziećmi, albowiem jeżeli tego nie uczynią, narzucana przez nich tyrania bywa i być musi buntem powstrzymaną. W sztuce pod tytułem „Le Pardon“, Juliusz Lemaître wykazuje słabość natury ludzkiej, sądzi, iż powinniśmy się powstrzymać od surowego sądzenia jedni drugich, nikt bowiem nie może być pewnym, czy za chwilę nie popełni czynu, który dopiero co potępiał. Utwory dramatyczne I. Lemaître mają tę dobrą stronę, iż zyskują przy odczytaniu, co stanowczo świadczy jeżeli nie o wartości filozoficznych poglądów autora, to o zręcznej i świetnej jego argumentacyi.

Wśród świeżo wydanych powieści, „La Petite Paroisse“ przez Alfonsa Daudet, doznaje wielkiego powodzenia. (Powieść ta wychodzi obecnie w polskim przekładzie w dodatku warszawskiego „Przeglądu Tygodniowego“). Streścić je w paru słowach niepodobna, notujemy więc tylko, iż jest to psychologiczne studyum uczucia zazdrości. Żona zdradziła męża i opuściła go, uciekając z kochankiem. Zdradziła chociaż nie kochała, raczej z nudów, w chęci szukania wrażeń. Porzucona przez kochanka, powraca do męża, który nie przestał jej kochać i cierpiał katusze w czasie jej nieobecności. Przebacza on powracającej i szczęśliwe życie rozpoczynają na nowo. Alfons Daudet okazuje się stanowczym zwolennikiem wyrozumiałości, współczucia i przebaczenia.

Gyp (pseudonim hrabiny de Martel) napisała książkę: „heurs âmes“, w której przedstawia nam „dusze“ modnego i wytwornego świata, ujawniające się nam w całej swej banalności i nicości w rozmowach jakby żywcem pochwyconych przez autorkę. Trudno być dowcipniejszą, a zarazem głębszą moralistką jak Gyp. Ironia jej nie rani, lecz ośmiesza, sztuka jej polega na umiejętnem chwytaniu chwili najjaśniej oświetlającej sylwetki, którą chce czytelnikowi przedstawić. W tymże samym rodzaju pisze swe książki Lavedan, autor dopiero co wyszłych z druku „Les Marionettes“. Pawła Hervieu należy również zaliczyć do tejże samej kategoryi pisarzy-ironistów, forma jego utworów jest wszakże odmienną, Gyp i Lavedan pisują obrazki oderwane i dyalogowane, a Hervien przedstawia swych bohaterów i bohaterki w powieściach większych rozmiarów. Ostatnia jego powieść „L'Armature“ wyszła przed kilku dniami. Główną jej postacią jest baron Jaffre posiadacz olbrzymiego majątku, około którego tłoczy się zgraja czcicieli złota. Jakim jest gatunek i kierunek myśli przeprowadzonych przez Pawła Hervieu, najlepiej scharakteryzuje chociażby to jedno jego określenie: „czem jest pokój bawialny, salon?... Jest to pokój, którego pożyteczność polega na bezużyteczności. Strojny i wyczekujący strojnych i wiecznie paradujących figur, jest miejscem dokonywania bezcelowych, próżniaczych czynów, przy odgłosie czczych i konwencyonalnych rozmów.“

Jeszcze przed niedawnym czasem, zaledwie kilka lat temu, kwestya równouprawnienia kobiet napotykała samych tylko przeciwników, ośmieszających wszelkie usiłowania, podjęte w tym kierunku. Obecnie sprawa stanęła na właściwem stanowisku, kobiety francuzkie organizują pomiędzy sobą kółka coraz liczniejsze o programach racyonalnych, i dających się streścić w słowach: kobiety powinny dążyć do pozyskania wolności pracy i dowolnego rozporządzania swym zarobkiem, zdobywszy bowiem niezależność w zakresie ekonomicznym, pozyskają jako naturalne tego następstwo równouprawnienie integralne.

Na czele ruchu w tym kierunku stoi we Francyi pani Schmahl, doktorka medycyny, wydająca pismo „L'Avant-Courrière.“ Pozostawiając na boku walczenie o zdobycie praw politycznych, pani Schmahl opracowała między innemi projekt reformy, dążącej do zapewnienia kobiecie prawa rozporządzenia pieniędzmi przez nią zarobianemi, obecnie bowiem kobieta jako *małoletnia wobec prawa*, jest pod tym względem na łasce i niełasce męża, który może roztrwaniać jej majątek, lub pracą zdobywany zarobek. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że żądanie pani Schmahl stanie się wkrótce prawem, uchwalone przez Izbę deputowanych. Maleńka ta na pozór reforma, będzie wtedy olbrzymim krokiem naprzód, początkiem rzeczywistego równouprawnienia.

Stowarzyszenie „Solidarité“, którego prezydentką jest pani Magdalena Brès, (pierwsza pomiędzy francuzkami doktorka medycyny, broniła tezy w r. 1867) zorganizowało popularne wykłady naukowe niedzielne, w salach ratuszowych najludniejszych dzielnic Paryża. Szereg wykładów rozpoczęła pani Brès w 20-tym cyrkule miasta. Przedmiotem jej konferencyi jest Hygiena. W sali ratusza innego znów cyrkułu, panna Chavin doktorka prawa, mówić będzie o teraźniejszem prawodawstwie, a pani Pillet doktorka medycyny, o: przeciążaniu fizycznem i umysłowem ludzkiego organizmu. Pani Potonié-Pierre, sekretarka stowarzyszenia „Solidarité“, zawiadamia w dziennikach, iż konferencye są już zapewnione na kilka miesięcy.

Przed paru tygodniami zmarł w Paryżu August Vacquerie, założyciel dziennika „Le Rappel“, w którym od r. 1869 pisywał codziennie wstępny artykuł, wypowiadając myśli podniosłe, głęboko demokratyczne, owiane miłością ludzkości i dążnością wyzwolenia myśli z ciasnoty sekciarskich formułek. August Vacquerie był nieodstępnym towarzyszem Wiktora Hugo począwszy od r. 1840. Był z nim na wygnaniu podczas trzeciego cesarstwa, a po śmierci wielkiego poety był opiekunem literackiej jego spuścizny, dobierając i wydając pisma po nim pozostałe. Vacquerie napisał niemało wartościowych książek jak: Miettes de l'histoire, Futura, kilka tomów poezyi, oraz liczne utwory dramatyczne. „Jean Baudry“ i „Tragaldabas“ wznawiane są zawsze z powodzeniem w Teatrze Komedyi Francuzkiej. Był przytem znakomitym tłomaczem arcydzieł starożytnej literatury greckiej. Wyzwolony z religijnych pojęć, A. Vacquerie żądał przed śmiercią, by pogrzeb jego był tylko cywilny, jak pogrzeb jego mistrza Wiktora Hugo.

X.

---

monów zgraję, która rozerwać ją chciała na szmaty. Akompaniowałem już prawie niedosłyszalnie, — aż nagle jak grom ogłuszająca fala tonów wyrwała się z jej piersi, jakby krzykiem pękającego serca; — nie mogłem znieść tego śpiewu, przez Bóg żywy, bez duszybym padł, gdybym miał słuchać długo; oszaleć by mi przyszło — nie mogłem tego słuchać, nie mogłem; jakby rozpaczą gnany, podniosłem na raz ręce obie i z siłą całą uderzyłem z góry w klawisze, jak gdybym tym zgrzytem nieharmonijnym chciał zgłuszyć ten śpiew szalony, chciał go wtłoczyć jej napowrót w piersi, zgnieść, stłumić go od razu. —

— A! Jezus, Marya! — podniosłem się szybko i schwyciłem za głowę, a ona cofła się się o krok z szeroko rozwartemi oczyma, z jękiem, zamarłym na ustach, — tak struny harfy dźwięczące, gdy ręką je uchwycisz, nie zmilkną od razu, tylko wydadzą jęk długi, ostatni, — jakby w tym jęku skonał cały śpiew. — Potem wyprostowała się dumnie, i błyskawice dumy strzeliły jej z oczu. Dusza szamotała mi się w piersi, — nie, nie poddam się tej kobiecie, wziąłbym ją pierwej i zabił, udusił; — zkąd ona ma tę moc mieć nademną!

Zbliżyłem się cały gniewny, wzburzony do otomanki i usiadłem w jednym rogu zadumany. Widziałem, jak mierzyła mnie wzrokiem niespokojnym, w którym gorączki paliły się jakieś; rumieńce wystąpiły jej na twarz, gdy podeszła jak ja do otomanki i zasiadła w drugim rogu zapatrzona błyszczącemi oczyma w dal.

Nie zbliżyła się do mnie; — prawie mi potem żal jej było, — ale.... gdyby była złamaną, potulną, płaczącą, pojednałbym się z nią — lecz wyprostowana tak dumnie, spokojna, z temi blaskami uporu, czy jakiegoś postanowienia w oczach nie budziła wemnie współczucia, — drażniła mnie. —

Dumna kobieto, ja chcę, żebyś ty była moją, — moją niewolnicą, — cała brutalność budziła się we mnie.

— Złamię ją, złamię, zmitręże, — powtarzały mi jakieś głosy w duszy.

I porwałem się potem i wybiegłem z pokoju, bez pożegnania, bez jednego spojrzenia, rzuconego na nią, bez pocałunku, — i to było moje pożegnanie, może na wieki pożegnanie!

To było moje pożegnanie! O droga moja, Ido moja, świecie mój — ból jakiś straszny skręca mnie w łęk na tę myśl, że cię nie zobaczę już. — Nie wiedziałem, co czynię, cóż ja za to mogę, — jestem szalony, wściekły, — ja nie człowiek, we mnie demon jakiś, we mnie duch piekielnej dumy, — a ty myślałaś, że ja to mówiłem przez usta moje, że to ja odszedłem od ciebie. — Ido! —

Ja wiem, to był grzech, ale co ja wycierpiałem, co ja przebolałem, gdy drugiego dnia poszedłem do ciebie, i....

Pamiętam, jak dziś — codzień myślę o tem, a jednak zdaje mi się, że śnię, — — pamiętam, jak dziś, — idę do niej, wchodzę do sieni hotelu, — powiada mi portyer:

— Pani nie ma, — wyjechała, — nie wiem dokąd.

Nie wiedziałem w pierwszej chwili, co do mnie mówią, — było mi, jakby ktoś mi odjął większą część mojej istoty, — ale byłem spokojny, jakby nic. Nie odparłem słowa, tylko szedłem na górę. Bo ja wiem, po co ja tam szedłem.

— Czy pan tam co zostawił? — pyta mnie portyer, gdy byłem już na połowie schodów.

— O, zostawiłem, zostawiłem tam bardzo, bardzo wiele, mój drogi. Wtedy przypomniało mi się: prawda, po co ja tam idę?

Że portyer jednak przyniósł za mną klucz, kazałem sobie otworzyć jej pokoje dwa, i zamknąłem się potem w nich, — niby, że szukać będę tego, co zgubiłem.

— Zostawiłem tu bardzo, bardzo wiele — powtarzałem machinalnie, gdy rozejrzałem się po pokoju, w którym byłem sam.

Gdy zobaczyłem się w tych samych ścianach, gdy jeszcze mnie zapach perfumy jej dolećiał, który zachowały meble, — wtedy zagotowało mi się nagle w duszy, zagryzłem usta, bo krzyk mi na nic się wydzierał, i dopiero mi było, jakbym przytomność odzyskał i pojął, com stracił.

Zbolały, złamany, oszalały, przechodziłem

Z dziedziny architektury i archeologii.

(Verzeichniss der Kunstdenkmäler der Provinz Posen III Bd. Die Landkreise des Regierungsbezirks Posen, Lieferung I, enthaltend die Kreise Posen-Ost und -West, Obornik, Samter, Grätz und Neutomischel. Im Auftrage des Provinzial-Verbandes bearbeitet von Jul. Kohte. Reg.-Baumeister, Berlin Verl. v. J. Springer 1895. Stron 76. Cena 2,00 Mk.)

Sprawa inwentaryzacyi naszych starożytnych zabytków budowlanych pokutuje już prawie lat piętnaście i nie mogła z początku wejść na tor właściwy. Jako pierwszy jej publicznie widoczny zaczątek uważać należy zestawienie i opis pobieżny, wykonany dla 22 sejmu prowincyonalnego przez budowniczego Wolffa i ówczesnego budowniczego rządowego Romana Ziemskiego. Praca ta kompilacyjna, na 34 stronach w 4to wydrukowana ograniczała się głównie na opisie kościołów naszych, była oparta na rożnych publikacyach znanych po większej części autorów i służyć miała za wskazówkę do szczegółowej publikacyi. Za przykładem innych prowincyi zamierzały początkowo tą sprawą zajmować się prywatne towarzystwa naukowe (tak i nasze Tow. Przyj. Nauk), lecz usiłowania te spełzły dla braku środków materyalnych jako też dla braku rutynowanych sił zawodowych na niczem. Jak i gdzieindziej chciał u nas zarząd prowincyonalny pierwotnie wydać tę inwentaryzacyę bez rysunków, dla tego uznano za wystarczające powierzyć tę pracę tutajszemu literatowi i rektorowi pozasłużbowemu p. Kurzmannowi, mówiącemu poprawnie po polsku, i przez to całą sprawę zabagniono. bo gdy inne zarządy prowincyonalne, które ludziom fachowym tę pracę powierzyły, już dawno dokonały zadania, my z Westfalją staliśmy jeszcze z próżnemi rękami. Gdy pan Kurzmann, ociągając się bezustannie, do podjęcia pracy się nie zabierał, musiał w r. 1889 zarząd prowincyonalny zerwać zawartą z nim ugodę i po dłuższych pertrakcyach z innemi osobistościami powierzył ówczesny starosta krajowy inwentaryzacyę znanemu z kilku wartościowych prac budowlano-archeologicznych p. Jul. Kohtemu. rodem z Magdeburga, który od 1 kwietnia 1891 r. objął swe urzędowanie. Odtąd zaczęła się właściwa praca do przygotowania dzieła wartościowego, które ma się ukazać w 4 wielkich tomach, przyozdobionych wielu rycinami, wykonanemi podług zdjęć oryginalnych, uskutecznionych na miejscu, jużto w sposób mierniczy, jużto przy pomocy instrumentu fotograficznego.

Założenie dzieła ma być przeprowadzone podług następującego podziału: Tom I ma zawierać: Zarys państwowego i cywilizacyjnego rozwoju prowincyi, skreślony przez król. archiwaryusza Dra Warschauera w Poznaniu. Rzut oka na historyczny rozwój sztuki w prowincyi. Przegląd zabytków. Wykaz literatury, artystów i miejscowości. Mapa zabytków w prowincyi w podziałce 1: 500,000. Tom II: Zabytki sztuki w obwodzie miasta Poznania. Tom III: Zabytki sztuki w powiatach obwodu rejencyjnego Poznańskiego. Tom IV: Zabytki sztuki obwodu rejencyjnego Bydgoskiego.

Ażeby wreszcie po tak długiem wyczekiwaniu cośkolwiek przedłożyć, zaczęto wydawnictwo od tomu III obejmującego 2 powiaty naokoło Poznania położone oraz powiaty obornicki, szamotulski, grodziski i nowotomyski.

Publikacya nie ogranicza się na samych budynkach kościelnych, lecz zajmuje się również i świeckiemi, dalej obejmuje cenniejsze zabytki z przemysłu artystycznego jak chrzcielnice, monstrancye, kielichy, relikwiarze, nagrobki i pająki, wymienia dzwony z ich napisami, podaje w ogóle w treściwej formie jak na nasze stosunki wiele pouczającego materyału, objaśnionego wzorowemi rycinami.

W powiecie *wschodnio-poznańskim* zwraca uwagę na więcej znany z dawniejszych publikacyi polskich romański kościół św. Jana Jerozolimskiego na komendoryi za bramą warszawską i na mniej znany, a wielce charakterystyczny kościółek w Głuszynie jako wczesno-gotycki budynek z cegły.

Powiat *zachodnio-poznański* ma mniej cennych zabytków.

Z powiatu *obornickiego* zwraca najwięcej na siebie uwagę kościół w Objezierzu o pierwotnie romańskiem założeniu, a rozbudowany później w stylu późno-gotyckim: przechowuje on jeden z cenniejszych relikwiarzy, pochodzący z XIII wieku, prawdopodobnie francuskiej roboty. Dalej uwagi godna jest też fara w Rogoźnie o przejrzystym rysie poziomym i charakterystycznych sklepieniach gwiaździstych i krzyżowych.

W powiecie *szamotulskim* podpada najprzód o dobrych proporcyach w barokowym stylu wykonany kościół w Obrzycku z początku XVIII wieku o centralnym rozkładzie i o wieży nad zakrystyą wybudowanej; dalej fara w Szamotułach, którą słusznie p. Kohte za jeden z najznamienitszych kościołów prowincyi uważa, a mianowicie nad pięknemi proporcyami jej wnętrza się zachwyca: prócz tego zwraca uwagę na późno-renesansowy ołtarz jej wielki z bardzo pięknym obrazem środkowym, przy którym domyśla się malarza frankońskiej szkoły i na wielkiej piękności płytę nagrobkową Andrzeja Szamotulskiego, wojewody poznańskiego († 1511 r.), pochodzącą zapewne z pracowni Piotra Vischera z Norymbergi. Interesująco jest też przedstawiona z 2 stron stara wieża zamkowa w Szamotułach z którą lud łączy podanie o Halszce z Ostroga, i okazany naocznie jej system obronności.

Z zabytków powiatu *grodziskiego* są wymienione jako uwagi godne: monstrancya późnogotycka w kościele farnym w Buku, jako też po za miastem położona drewniana kaplica św. Krzyża o charakterystycznym rozkładzie centralnym. zapewne z r 1609 pochodząca. Przy grodziskiej farze podoba się autorowi najwięcej zewnętrzny wygląd o 4 mniejszych i 1 środkowej większej kopule, które budynkowi dodają okazałości; z wewnętrznych przedmiotów zaś przedstawia jako uwagi godną monstracyą późnogotycką, 2 pająki mosiężne z XVII w. z niemieckiemi orłami na czubku i pomnik Niemki († r. 1627) w stojącej postaci.

W powiecie *nowotomyskim* zwraca p. Kohte uwagę na piękną późno-gotycką monstrancyą do kościoła we Lwówku należącą; zresztą nie przechowuje ten powiat znaczniejszych zabytków z dawnych czasów.

Ponnarkę do rysów poziomych użyto jednolitą 1: 400, a do szczegółów 1: 25, przez co ocenę i porównanie pojedyńczych zabytków pomiędzy sobą bardzo ułatwiono; wyjątkowo tylko znajduje się gdzieniegdzie inna pomiarka, zwykle oznaczona liczbami przy rysunku. Do rysunków podanych zużyto, gdzie było możliwem, istniejące już zdjęcia, lecz z odpowiednim krytycyzmem t. j. z poprawką ich niedokładności lub nieścisłości. Gdzie nowe dołączono rysunki wolnoręczne n. p. kilka perspektywicznych widoków, tam oddają one to, co w zabytku jest najważniejszego, z większym naciskiem aniżeli to możliwem jest przy cynkotypicznie z fotografii wykonanych przedstawieniach zabytków przemysłu artystycznego, w których czasem kontury nie zbyt jasno występują.

Tekst przedstawia rzecz zwięźle i pragmatycznie. Autor odwołuje się wprawdzie często na źródła polskie, lecz przytacza tylko wyjątkowo napisy polskie, tak że mimowoli pozostało u nas po przeczytaniu całości wrażenie, jakobyśmy w obec innych cytatów, odnoszących się tak do zakorzenionej u nas z dawna po miastach Niemczyzny jak i z nią połączonego, protestantyzmu nie równą miarą obdzieleni zostali. A przecież wydawnictwo to, do którego same prace przedwstępne około 50,000 Mk pochłoną, przez stany prawincyonalne polecone, wychodzi kosztem całej prowincyi i powinno na zabytkach ukazujący się język polski po równi uwzględniać jak i niemiecki. Wypadałoby zatem błąd naprawić i życzenia nasze przy następnych, w przeciągu 2 lat wyjść mających zeszytach, inwentaryzacyjnych uwzględnić.

Dla nas samych jest to zestawienie i pod tym względem pouczającem, że stanowi ono wskazówkę, jak zabytków z przeszłości naszej przy ich „odnawianiu“ lub „restauracyi“ traktować nie należy. Słyszymy tam z kompetentnych ust, ile to razy w nowszym czasie przez nieznajomość rzeczy i dyletancką robotę stare zabytki częściowo popsuto lub nawet rozsprzedano! Ciekawym szczegółów zwracamy uwagę na str. 9, 13, 17, 39, **50**, **53** i 74. Jest i tu więc kronika nasza żałobna. Oby przestroga taka położyła koniec tego rodzaju bezwiednym, jak przypuszczamy, nadużyciom.

W końcu jeszcze słówko do obydwóch dzienników naszych „poważnych“. Pierwszy „Kuryer Pozn.“, chorujący w ostatnich tygodniach na eksperta w sprawach budowlanych zamieścił w najświeższym czasie o tem pomiikowem i nas zarówno jak i Niemców obchodzącem wydawnictwie charakterystyczne sprawozdanie, z któregoby wywnioskować można, iż ani tytułu dzieła z uwagą sobie nie przeczytał, bo w przeciwnym razie wiedziałby niezawodnie, że to dzieło nie wychodzi z tutejszego „niemieckiego Towarzystwa historycznego“. Dalej pisze ono „*wsi* Obrzycku“ i o „cywilnym (sic) rozwoju Wks. Poznańskiego“ (to może błąd drukarski!), a później tłomacząc niemieckie „spätgothisch“ pisze o stylu „*nowo*gotyckim“, kilka zaś wierszy dalej nazywa ten [sam styl „starogotyckim“. Niedołężne to wprawdzie, ale jak umiał tak napisał; dobrych chęci za złe mu

---

pokoiki dwa, a tak w nich było, jakby ktoś umarł wczoraj.

— Nic, nic po niej, — ani skrawka, ani wstążki. ani nic, nic po niej, jakby tu nigdy nie była.

Tylko fortepian był jeszcze otwarty, może od wczoraj nikt go nie tknął dotąd.

Wtedy, aby mieć coś przynajmniej, coby mi ją przypomniało, siadłem do fortepianu i zacząłem grać: Stabat Mater.

A gdy przyszedłem do miejsca, w którem mi wtórować zaczęła wtedy, — urwałem nagle, głowa mi opadła na piersi, i zrobiło mi się tak gorzko na duszy, tak gorzko okropnie.

Zacząłem grać znowu od początku, a gdy i teraz doszedłem do miejsca tego, stało mi się ciemno przed oczyma, moc jakaś tumaniąca, głucha porwała mnie.... i nie wiem, co się ze mną stało, tylko gdy już sprawę sobie zdać mogłem, znajdowałem się na otomance leżąc i słyszałem gwałtowne do drzwi pukanie i głos portyera:

— Nie może pan znaleść, co panu jest?

Co ja zrobiłem, co się ze mną stało, czy tak krzyczałem, że usłyszeli mnie? — pytałem siebie i odparłem:

— Nie, nie znalazłem. — A potem gdy wracałem do domu, powtarzałem jeszcze machinalnie szeptem: nie, nie znalazłem.

O Ido, gdybyś ty wiedziała, czem dla mnie wyraz ten jeden: nie znalazłem!

Czemuś ty odjechała odemnie i znikła, że choćbym świat przeszukał cały, nie znalazłbym cię już nigdy, nigdy?

Gdybym choć obraz twój miał, — ale nie umiem, nie mogę malować ciebie; gdybym choć pamiątkę miał jednę, której ty się dotykałaś, ustami wpiłbym się w przedmiot martwy i jemu skarżył się przynajmniej. — A tak usta z bólu zacinam, że nie mam nic po tobie, nic... — Tylko ta pieśń jedna mi została, która najdroższe me łączy ze sobą wspomnienia, — tylko mam po tobie tę żałobną pieśń: Stabat Mater.

Więc gdy rozmawiać z tobą pragnę, siadam do fortepianu i gram; a gdy przyjdę do miejsca, w którem mi wtórować zaczęłaś, zamykam oczy, i dreszcz rozkoszy mnie przechodzi, bo nieraz zdaje mi się, że z drugiego pokoju, tam z poza kotary, lekkie do mnie dochodzą tony, jakby organów dalekich granie, jakby śpiew twój.

O Ido, to złudzenie, a jednak ty nie wiesz, jak ono mnie pociesza, jak wdzięcznym tobie, że mi tę jednę zostawiłaś pamiątkę.

Tak mi cię braknie, tak mi za tobą tęskno w tej chwili.... Pójdę i grać będę, a gdy tony pieśni naszej rozpłyną się w pokoju, może ty sercem je zasłyszysz, może ta pieśń do ciebie doleci i powie ci o mnie, jak mi źle bez ciebie, jak mi ciebie żal, jak żal.

się nie bierze; gdy bowiem przekona się, że takich absurdów bezkarnie pisać nie można, pomyśli może na przyszłość o rozumniejszych referatach.

Gorzej z „Dziennikiem Pozn.“. Ułatwił sobie bowiem jeszcze bardziej sprawę, anektując cały artykuł bez jakichkolwiek poprawek żywcem z „Kuryera“ i nie podał ani po nazwisku swego tak znakomitego źródła. *O.* —



Kronika galicyjska.

9 kwietnia.

(Trudne obowiązki korespondenta. Dwoistość galicyjska. Echa procesu tarnopolskiego. Chińszczyzna w Towarzystwie sztuk pięknych. Dwa systemy prowadzenia teatru. Dlaczego nie będą grali „Towarzysza pancernego“ w Krakowie. Sprawa pomnika Mickiewicza. Kto jest głównym winowajcą? P. Kossuth i Towarzystwo handlowe. Anegdota o krytyku muzycznym)

Mając od dnia dzisiejszego być sprawozdawcą już nietylko życia krakowskiego, ale w ogóle stosunków i spraw galicyjskich, winienem przedewszystkiem zaznaczyć we własnym interesie, iż obowiązki moje będą znacznie trudniejsze, niż były dotychczas. Wypływa to z wyjątkowego położenia Galicyi. Życie Królestwa polskiego koncentruje się w Warszawie, kto więc mieszka w Warszawie, temu łatwo być korespondentem z Królestwa. Korespondent z Wielkopolski do pism warszawskich lub galicyjskich jest w tem samem położeniu, bo siedząc w Poznaniu może obserwować życie całej prowincyi, której wszystkie sprawy żywotne mają swój główny zbiornik, główną przystań w dawnej stolicy państwa Mieczysławów i Bolesławów. Galicya tymczasem ma dwa ogniska: Lwów i Kraków, które rywalizując ze sobą, przepoławiają życie społeczne, literackie i artystyczne. Dla tego też oprócz jednego namiestnika, jednego marszałka, jednego dyrektora poczt i telegrafów, jednego (i to zanadto) naczelnika dyrekcyi skarbu, jednej śruby podatkowej, jednej Akademji, jednej Politechniki, jednego „miłośnika prawdy“ w osobie p. Koźmiana, jednego komitetu pomnika Mickiewicza, jednego patryoty dra Lewakowskiego i jednej biedy galicyjskiej — posiada Galicya wszystkiego po dwoje. Mamy więc dwa uniwersytety, dwa konserwatyzmy (podolski i krakowski) dwóch ministrów — rodaków, dwa „Koła literacko-artystyczne“, uprawiające wszystko prócz literatury i sztuki, dwa wyższe sądy, dwa komitety wyborcze, dwa wielkie teatry, dwa Towarzystwa Sztuk pięknych, dwa organy ultra konserwatywne, dwie ujarzmione narodowości (oprócz panującej żydowskiej) dwa tory wyścigowe, dwie „końskie“ resursy, dwa kluby cyklistów, dwa główne obrządki katolickie, dwa Towarzystwa Ubezpieczeń, dwa Towarzystwa rolnicze, dwa Stowarzyszenia pracy kobiet, dwa Towarzystwa zbieraczy marek pocztowych, dwóch cudownych rabinów, dwie Izby adwokackie, dwa kalendarze, dwóch Badenich, dwie miary w ocenianiu zasług, dwa Towarzystwa wzajemnej adoracyi, dwa języki urzędowe, dwa zakłady dla chorych umysłowo, dwie drogi wiodące do Rzymu: przez Peszt i Wiedeń, dwa główne przemysły fabryczne: gorzelnie i browary, dwa Towarzystwa lekarskie, dwie dyrekcye policyi, dwa królestwa: Galicyi i Lodomeryi, dwa Dunajce: Czarny i Biały, dwa Sącze: Nowy i Stary, dwa systemy podatków, łapówek i protekcyi: pośredni i bezpośredni, dwie jednostki monetarne: gulden i koronę, dwa tramwaje, dwie giełdy uliczne, dwóch bogatych żydów, dwóch mądrych hrabiów, dwa Towarzystwa muzyczne, dwie „Harmonje“, dwie fabryki tutek do papierosów i dwie szkoły akuszerek. Posiadała jeszcze Galicya dwie filantropki i dwóch rozumnych mężów stanu, ale ci już pomarli.

Ta dwoistość galicyjska musi z natury rzeczy sprawiać niemały kłopot korespondentowi, bo jeżeli dwom panom naraz jest źle służyć, a na dwóch stołkach źle siedzieć, to najgorzej dwie sroki: Lwów i Kraków, za ogon trzymać. Chcąc dokładnie, na mocy naocznego przekonania się notować wszelkie ważniejsze objawy w tych dwóch ogniskach galicyjskiej ojczyzny, musiałbym chyba przepołowić się lub nakształt wahadła zegarowego odbywać ciągłą podróż między temi dwoma punktami. Ponieważ zaś to jest niepodobnem, muszą przeto czytelnicy wybaczyć, że Kraków będzie górował w moich korespondencyach, że kiedy za kronikę jego będę brał na siebie całkowitą odpowiedzialność, to przy stosunkach lwowskich będę musiał od czasu do czasu położyć zastrzeżenie: *relata refero.*

Dwoistość galicyjska występuje prawie w każdej sprawie. Zdawałoby się np. że taki proces tarnopolski spotka się z jedną niepodzieloną opinią. I rzeczywiście tak sąd przysięgłych, jak ogół ludności, jak wreszcie prawie całe dziennikarstwo, miało tylko jedno zdanie, a zdanie to brzmiało: kapitalnem głupstwem, jeżeli nie zbrodnią, było więzić młodzież i wytaczać jej proces za dziecinne, lecz uczciwe porywy, za kilka lekkomyślnych frazesów. Nawet ultralojalni rozumieli to dobrze, iż taki proces ośmiesza władzę i daje broń do ręki naszym przeciwnikom, którzy przy sposobności powiedzą ze złą wiarą: „Galicya myśli o powstaniu i oderwaniu się od Austryi“. Inni wreszcie sądzili, iż niebezpieczną jest rzeczą wytwarzać pomiędzy młodzieżą „męczenników“, którzy muszą być uwolnieni i otoczeni sympatyą, a więc łatwo przewróci się nietylko im w głowie, ale i rówieśnikom ich, chcącym również nabyć łatwym sposobem aureoli męczeńskiej. Wszystkie te zdania potępiały lekkomyślność sfer decydujących i wyrażały konieczność jaknajprędszego zatarcia śladów tej lekkomyślności. Tymczasem Rada szkolna krajowa, która jak się pokazało najwięcej zawiniła w tej sprawie, postanowiła mieć odmienne zdanie. Nietylko więc nie zaciera śladów, ale je rozmazuje. Naprzód uznała za stosowne ukarać Tarnopol jako ognisko buntu i przenieść seminaryum nauczycielskie do innego miasta. Dalej, ponieważ p. Szafran, nauczyciel seminaryum tarnopolskiego, przedstawił jasno i uczciwie, jak się na ów bunt, na ową „zdradę stanu“ zapatrywało ciało nauczycielskie, przeto za tę odwagę cywilną, za tę uczciwą i szlachetną obronę młodzieży przed wstrętną denuncyacyą, wytoczono mu śledztwo dyscyplinarne. Jednocześnie jeden z członków Rady szkolnej otrzymał wysokie odznaczenie, a wróble na dachu wiedzą, iż ten gwałtowny konserwatysta i tępiciel ateizmu, przed niewielu laty był radykalnym liberałem i zakazywał swe dzieci uczyć pacierza.

Dwoistości Galicyi dowodzi również i odjednoczenie „Zjednoczonego Towarzystwa sztuk pięknych“. Jednemu źle się powodziło, jedno coraz więcej upadało, a więc rozdzielono je na dwa: lwowskie i krakowskie. Każde z nich ma swój statut na odmiennych oparty podstawach. Lwowskie sądzi, iż kto jest jego członkiem i ma obowiązki, ten musi mieć i prawa, a więc zgodnie z logiką i ustrojem wszystkich takich Towarzystw, członkowie mają prawo głosu i wyboru. Krakowskie Towarzystwo przeciwnie, nie może i nie chce pozbyć się chińszczyzny, która zamyka usta członkom i mówi: wy jesteście od płacenia, a nas kilkunastu stanowiących komitet, będziemy rządzili na wieczne czasy, sami siebie wybierali, a wam pozwalali tylko słuchać i milczeć. Ale na chińszczyznę wogóle spadają dotkliwe dziś ciosy. Znalazło się więc w Krakowie kilkudziesięciu Japończyków, którzy postanowili zdobyć i zburzyć Pekin Towarzystwa sztuk pięknych. Już na walnem zgromadzeniu przyszło do awantury między kilku Japończykami, a ufnymi w swą ilość i siłę stanowisk Chińczykami. Po tej pierwszej wymianie strzałów, Japończycy zaczęli się uzbrajać i zwołali pospolite ruszenie do sali „Sokoła“. Dowództwo nad tą armją objęli artyści malarze, z których jeden przypatrywał się ongi naocznie wojnie serbsko-bułgarskiej i widział jak słabsi ilością, ale więcej karni i wyćwiczeni bułgarzy, zadali klęskę serbom trzy razy liczniejszym. Znając się nieco na strategii i taktyce może p. Antoni Piotrowski zdoła na czele armji niezadowolonych rozbić mur chiński Towarzystwa sztuk pięknych. A nie jest to dopiero pierwsze usiłowanie, gdyż o ile sobie przypominam już przed 20 laty zbierano między członkami Towarzystwa podpisy w celu wywarcia presyi na komitet, ażeby azyatycki swój statut przerobił na modłę europejską. Później sprawa ucichła, aż dopiero rządy baszybuzucha Zygmunta Cieszkowskiego otworzyły na nowo oczy tym, co pragną rozwoju, a nie upadku Towarzystwa.

Podwójnie też zapatrujemy się na stosunek teatru do moralności i katolicyzmu. W Krakowie przedstawiaja Lizystratę, a dzienniki konserwatywne i katolickie piszą dla niej reklamy — we Lwowie zamierzano urządzić przedstawienia pasyjne, lecz tak zaczęto wołać na nieuszanowanie uczuć religijnych, że dyrekcya teatru widziała się zmuszoną ustąpić przed tym głosem opinji, pomimo poczynionych już znacznych wydatków. Przyznaję otwarcie, iż nie jestem zwolennikiem wprowadzania na scenę tego, co jest świętością dla ogółu wierzących, ale nie rozumiem dwóch miar, podwójnych sumień. Wszak pomijając skandaliczną Lisystratę, teatr krakowski wystawił „Hanusię“ Hauptmanna, w której występuje Chrystus i to w roli niezgodnej z pojęciami religijnemi. Otoż tak Chrystus Hauptmanowski może się ukazywać na scenie teatru krakowskiego, można w Krakowie przyglądać się na wszystkich wystawach fotografiji aktora Śliwickiego, ucharakteryzowanego za Chrystusa, a we Lwowie nie wolno przedstawić na scenie Chrystusa w duchu pojęć ściśle katolickich.

Nietylko tem zresztą różnią się nasze obie tak zwane „świątynie sztuki“. P. Przybylski, dyrektor teatru lwowskiego, stara się pomimo ciężkich warunków, wystawiać jak najprędzej wszystkie nowości oryginalne, p. Pawlikowski zaś, dyrektor teatru krakowskiego, pomimo wybornych warunków finansowych, z najwyższą niechęcią przystępuje do wystawienia polskich nowości. Dlatego też mieszkający w Krakowie autor Kilińskiego, widział go na scenie lwowskiej przed rokiem, a w Krakowie przed dwoma miesiącami; dla tego też „Ciepła wdówka“ Bałuckiego ujrzała najprzód we Lwowie a nie w Krakowie „światło kinkietów teatralnych“. Gorzej się jeszcze stało p. Michałowi Wołowskiemu, autorowi „Towarzysza pancernego“, za którego otrzymał pierwszą nagrodę na konkursie lwowskim. Nie znam sztuki, więc o niej sądu wydawać nie mogę, ale jeżeli komisya oceniająca, w której skład wchodzili: Małecki, Estreicher, Krechowiecki, Kotarbiński itd. udzieliła „Towarzyszowi pancernemu“ pierwszej nagrody, toć musi być w tym „Towarzyszu“ coś dobrego, boć przecie zdanie samego choćby Małeckiego jest dziesięć milionów razy więcej warte, aniżeli zdanie p. Tadeusza Pawlikowskiego. A tymczasem, pomimo, że „Towarzysz“ wystawiony we Lwowie, przyjęty został nader życzliwie przez krytykę, a publiczność lwowska szczelnie na nim teatr wypełnia, krakowski pan dyrektor zaopiniował, że na zdaniu Małeckich, Estreicherów itp. nie polega, a publiczność lwowska jest „zbyt głupia“, aby brać w rachubę jej zadowolenie z „Towarzysza“. I dzięki temu nie będziemy widzieli na naszej scenie nagrodzonej sztuki p. Wołowskiego. Na jedno tylko zgodził się Lwów z Krakowem, a mianowicie na to, iż pomnik Mickiewicza jest bardzo brzydki. Wiecie już naturalnie, bo wszystkie pisma to ogłosiły, iż komitet odrzucił p. Rygierowi figurę Mickiewicza i grupę „Nauka“. P. Rygier mógł się procesować, a raczej mógł wyzyskać położenie, bo komitet, obawiając się kompromitacyi, nie byłby zapewne dopuścił do procesu, a pomimo to zgodził się na bezinteresowne wykonanie po raz drugi odrzuconych części pomnika. Należy mu to bezwarunkowo pochwalić, należy mu wyrazić uznanie. Po tym akcie skruchy i pokuty nie wypada się dalej na niego gniewać, tem więcej, kiedy się wie bardzo dobrze, iż on sam jeden ponosi karę za winy swoje i winy komitetu. Nie wiemy tylko jednej rzeczy, a mianowicie, kto poniesie koszta transportu modeli, odlania ich w bronzie i ustawienia, które bądź co bądź będą wynosiły kilkanaście tysięcy złr., a funduszów na pokrycie tej kwoty komitet nie posiada. Ale niech nas na razie o to głowa nie boli, a tymczasem podziwiajmy nową ozdobę rynku

krakowskiego, pomnik bowiem cały zaszalowano na kształt kwadratowej budy z ostrosłupowym dachem na wierzchu. Obcy przejeżdżający sądzić będą, że jest to jakiś amerykański środek kupieckiej reklamy, cała bowiem ta budowa, wysoka na 10 metrów, zalepiona jest afiszami. Szkoda, że nie wysłuchano propozycyi pozostawienia pomnika otwartym, zdjęcia głównej figury i tymczasowego zastępowania jej kolejno przez stosownie przybranych członków komitetu. Wyglądałoby to naprzód estetyczniej, a powtóre byłoby dobrowolnem dopełnieniem kary za złe pilnowanie spraw pomnika. Właściwie kara ta powinna była dotknąć przedewszystkiem p. Konstantego Przeździeckiego, któremu przeważnie zawdzięczamy całą tragikomedyę pomnikową. Ale ten wielki znawca i mecenas sztuki (ma obfity zbiór fotografij), skoro poczuł, że nabroił, dał drapaka z Krakowa i komitetu, wskutek czego całkiem o nim zapomniano. Wydobywam więc na jaw jego nazwisko, aby marmur jego zasługi nie pokryło zielsko niepamięci.

Nie bolejąc nad ubytkiem z Krakowa uhrabionego przez dzienniki p. Przeździeckiego, wyrażam żal z powodu opuszczenia Krakowa przez p. Stefana Kossutha, jednego z najwybitniejszych techników polskich, prezesa zeszłorocznego zjazdu techników we Lwowie. Szeroka działalność jego znaną jest w Królestwie polskiem, gdzie zajmował wybitne stanowiska: jako dyrektor fabryk żyrardowskich i łódzkich, oraz dyrektor kolei nadwiślańskiej i redaktor *Przeglądu technicznego*. W Krakowie przebywał zaledwie przez pół roku, umiejąc w tym czasie nietylko dać się poznać z wiedzy zawodowej, ale i z ogólnego wykształcenia, wysokiej inteligencyi i przymiotów towarzyskich. Zabrał go naszemu miastu Lwów, gdzie mu się otworzyły widoki szerszej pracy dla dobra kraju. Wspominam o nim dlatego, iż wyczytałem jego nazwisko jako nowego członka Rady nadzorczej galicyjskiego Towarzystwa handlowego. Lwów na polu przemysłu i handlu pozostawił w tyle za sobą Kraków, czego dowodem choćby rozwój tego Towarzystwa. Założyło ono centralny bazar krajowy i ujmuje coraz więcej w swe ręce handel wyrobami przemysłu domowego i w ogóle krajowego. Rok ubiegły przyniósł Towarzystwu czysty zysk w kwocie 36,000 zlr. Zajęło ono wybitne miejsce w handlu spirytusowym, zbożowym, maszyn, nawozów sztucznych i nasion. Szczególną troskliwością otacza dział przyborów pożarnych i sikawek, pracując nad bardzo zaniedbaną w kraju organizacyą obrony pożarnej. Obecnie wprowadza w życie pospieszne pociągi dla bydła opasowego z Galicyi i Bukowiny.

Na zakończenie prawdziwa anegdota. Występujący niedawno w jednym z naszych teatrów śpiewak wykonał piosnkę Galla do słów najznakomitszego z naszych żyjących poetów, a słowa to śliczne, jakby proszące się o muzykę. Poeta znajdował się w teatrze, a obok niego siedział krytyk muzyczny, nie sympatyzujący z Gallem. Kiedy pieśń przebrzmiała, krytyk odwraca się do poety i mówi: „oto nowy dowód inteligencyi naszych kompozytorów. Trzeba być . . . . ., aby do takich głupich słów dorabiać muzykę.“ Poeta przyznał to z uśmiechem i opowiadał później jak ocenia jego utwory.... krytyka muzyczna. Nawiasem dodam, iż wiersz, o którym mowa, należy do najwięcej znanych, najwięcej popularnych utworów poety. *K. Bartoszewicz.*

LISTY Z KOLONII.

(Spóźnione).

Kolonia 1 kwietnia.

I kronikarz miewa niekiedy pokusy, jakże więc i ja nie miałem ich dostać! Jak ciocię kocham, że broniłem się przed niemi jak wąż, jak lew, jak pantera, jak... jak... no jak Chińczycy przed Japończykami, ale... Czytelnicy! proszę, nie rzucajcie na mnie kamieniem za tę słabość, a Wy Szan. Czytelniczki — łupinki od pomarańczy, któremi chciałyście mnie ukamienować, schowajcie do mufki. Bardzo proszę, a za to zaspokoję Waszą ciekawość, bo moja pokusa z pokusami św. Augustyna nic nie miała wspólnego. Otóż było to tak. Mając stale pisywać do „Przeglądu“ namyślałem się nad znakiem, który pod korespondencyami oznaczać miał moje pióro. Jako wielki amator kwiatów, zwłaszcza gdy to pąkóweczki jeszcze właśnie co mające rozkwitnąć (proszę mnie nie posądzać o dwuznaczniki), spojrzawszy na bukiecik fiołków stojący na biurku, przyszła mi pokusa podpisywać się „fiołek“ (jak się to pięknie rymuje na osiołek!), ale wspomniawszy znowu na różową wstążeczką owiązaną gałązkę jaśminu zasuszoną w poezyach Asnyka, przypomniawszy sobie nadto, że w notesie mam również zasuszony gwoździk owinięty starannie w papier z napisem „souvenir“ — porzuciłem grzędę z kwiatami, bo każdy niby róża zdawał się mieć kolce. Przemaszerowszy kilka razy moje *at home* i wzdłuż i wszerz, nowe do głowy nadpłynęły mi idee i z łanów kwiatów myśl moja pobujała na pole mitologii i historyi... nawet starego zakonu. Nowe więc były pokusy. Ponieważ jednak Grecy wiecznie nowe dłubali w marmurze kapitele, Rzymianie podobno się boksowali, Egipcyanie codzień do znudzenia fabrykowali mumie, no a naród jerozolimski w ogródkach więcej sadził cebuli, niż bzów i rezedy, więc dla prawie dwudziestu powyższych przyczyn porzuciłem i tę myśl, chociaż doprawdy potrzeba było tylko wędkę zarzucić, żeby wyłowić pseudonim w todze lub halacie. Chciałem się później jeszcze nazwać „Li-Hung-Tschang“, myśląc, że to *haute nouveauté*, ale mnie wyśmiano, wzięła mnie pokusa podpisywać się „primaaprilis“, bo to na czasie, ale intimusy moi i ten świetny pomysł zabili salwą ironicznego śmiechu. Słabo mi się zrobiło, widząc jak gmach moich pomysłów jeden po drugim chyli się i upada i mimowoli odwróciłem głowę na moim *ratersztulu*. Była to błogosławiona chwila.

Oko moje zaszłe już łzami padło przypadkowo na Citatenschatz Buchmanna i nagle, tak jak wyrasta kwiat kaktusowy, przypomniały mi się nieśmiertelne słowa niemieckiego wieszcza: „Sieh. das Gute liegt so nah“. I w rzeczy samej, czyż to nie najlepiej podpisać się prosto z mostu własnem nazwiskiem, tak jak je Pan Bóg dał, a człowiek odziedziczył po antenatach? Korespondencya oznaczona rzeczywistem nazwiskiem autora i z tego względu zdała mi się zalecać, ponieważ do pisania używam ostrych piór t. zw. ff., a zadrasnąwszy może gdzieś, kiedyś, kogoś, wina nie spadnie na „Przegląd“, jakoby korespondenci jego strzelali z za płotu. Gotów zawsze za artykuły mego pióra odpowiedzieć na ewentualne zaczepki wywołane słowami prawdy i nagany, z otwartą przyłbicą idę w bój kronikarski, w bój, gdzie żółć się leje, nie krew, chociaż krew czasem do głowy uderza.

Po zającach, polędwicach i pieczeniach wszelkiego rodzaju, zajął miejsce prezydyalne śledź. Śledź nie szczupak to prawda — tak tłomaczyła mi w ubiegły piątek wieczorem moja gospodyni, widząc, że na to danie twarz moja robi się kwaśną jak ocet, w którym na talerzu pływała przeznaczona dla mnie morska ryba — ale potrawa zdrowa nawet i pożywna.

Toż pan — ciągnęła gadatliwa babina dalej — nawet na śniadanie jadł go czasem i to z wilczym apetytem, sam prosząc mnie o niego. Na takie *dictum acerbum*, które wywołało mary „koleżeńskich kolacyjek“, kawalerskich wieczorków“ et tutti quanti kuzynków nazwiska „hulatyka“ — zamilkłem, ale pióro moje nie mogło znowu oprzeć się pokusie i umaczawszy stalowy koniec swój w occie siedmiu złodziei, zatopiło go w śledziu i podało na pierwsze danie fejletonu postnego. Myślę, że Szan. Czytelnicy mimo tak rozwlekłej rozprawy o śledziu nie posądzą mnie przecież o reklamę dla obywateli zamieszkujących znane „budki“ pod Poznańskim ratuszem, powodem z mojej strony, że poczęstowałem śledziem są tysiące głosów, które w radosnem uniesieniu wołały:

Witaj o wymoknięty!
Podczas zapustnych gorączek
Twe miejsce zajmował pączek,
Pączek nadęty,
Dziś jego potęga złamana,
I na wzgardzonym grobie
Lud uznał w tobie
Pana.

Jakżeś piękny, gdy octu krzepkiego kaskada
Kruchość ci nada,
Gdy cię uwieńczą koroną z cebuli,
Twym własnym mleczem przyozdobią dzwonka,
Wachlarz uczynią z ogonka
I zleją oliwy deszczem...
Kogoż twój widok nie rozczuli?
Kogoż nie przejmie zachwycenia dreszczem?

Po przeczytaniu powyższego poematu, nienagrodzonego wprawdzie na żadnym konkursie literackim, ale mimo to jednego z najlepszych ostatniego lat dziesiątka (ależ wierz mi pan, panie redaktorze), liczę napewno, że liczne grono Szan. Czytelników zostało i zachwycone i rozczulone. Korzystając z małego zamięszania, pióro moje od ryb przenosi się nad wodę. Woda w Kolonii, o której zamierzam pisać, jest co prawda wodą kolońską, ale... ale... jakby to zwłaszcza paniom wytłomaczyć? otóż: nie działa ona przeciw migrenie, ale niestety przeciwnie. Tamtą, pachnącą, zwaną także „wódką kolońską“ fabrykuje dopiero dwadzieścia prawdziwych rodzin Farina i dwadzieścia innych nie będących „waschecht.“ Jasne? bene! Oko moje teraz przenosi się nad Ren, którego wody to rosną, to opadają jak akcye pewnych gazet poznańskich. Gorliwi o dobro współobywateli ojcowie miasta schodzą się codzień nad brzegiem, o ile go woda nie zalała jeszcze, patrzą na wodomierz i... i myślą. Indyk myślał i zdechł, a ojcowie miasta wzdrygnąwszy ramionami z obawy przed influencą uciekają do najbliższej knajpki, z której zaczerwienieni wychodzą dopiero około południa.

Bismarkczycy postroili okna portretami i podobiznami „pustelnika z Friedrichsruh, a na oknach i balkonach wywieszają chorągwie. Ponieważ jedna z tych „schwarz, weiss, roth“ zawieszona na piętrze ponademną, aż do mnie sięga i przed oknem powiewa, a migotanie takie świateł oczom moim szkodzi, więc rad nie rad zakończyć muszę tę pierwszą moją korespondencyą do „Przeglądu“, stawiając na zakończenie kropkę.

Witold Leitgeber.

NA WYŁOMIE.

(O różnych „Panach“. Męczennik miłości. Wiekopomny artykuł. Dwaj tromtadraci“.

„P a n w f u t r z e! — To człowiek, który w sztukach ludowych nagradza cnotę tryumfującą. Znalazł szewczyk talara, oddał go uczciwie i oto zjawia się „Pan w futrze“ (zwykle pożyczanem) z całą sakiewką nagrody.

„P a n z e w s i“! — To taki, co ma sumiaste wąsy, śmieje się w cukierniach na całe gardło i ślini tak przyjaciołom policzki, że z samej wilgoci kataru dostają.

„P a n w h a w e l o k u!“ — To taki, co chodzi w Warszawie po ulicy, zbiera nowinki o kradzieżach, mordach i powodzi, obiecuje kupcom sążniste reklamy, zjada za to dobre obiady i w „Kuryerkach“ opowiada, gdzie diwy operetkowe kupują — koszule. Jednem słowem reporter.

„Pan z miasta“! — Tu styl lapidarny wypowiada feljetoniście posłuszeństwo, bo definicya tego Pana wymaga głębokiej refleksyi. Widziałem w okolicach Poznania Nemrodów pudłujących rozpaczliwie do kuropatw i zajęcy, a chłop przy órce ścigał oczami nietkniętą zwierzynę i mówił „Ho! ho! To Pan z miasta strzelił“. Słyszałem też nieraz w redakcyach poznańskich jak „Naczelny“ mówił do adjutanta swego: „Zwymyślaj pan Szymańskiego, ale naturalnie: To „P a n z m i a s t a“ pisze!“ Albo: „Trzebaby tak przystawić bańki „Postępowi“, ale nie od nas; „P a n z m i a s t a“ operuje“. Jednem słowem ile razy redakcya wstydzi się ogłosić jaką szkalującą głupotę, jakąś potwarz pozbawioną zdrowego sensu, lecz obliczoną na niskie instynkta lub złe informacye czytelników, zawsze wołają „Pana z miasta“ na pomoc, dodając często dla większego efektu: „Korespondencyę powyższą umieszczamy, jakkolwiek nie godzimy się na nią we wszystkich puntach.“

„Pan z miasta“ odezwał się w „Kuryerze Pozn.“, a naczelny redaktor, pan dr. K a n t e -

cki dopisał — na własnym, jak złośliwi mówią, manuskrypcie, — charakterystyczną notatkę. Tarczą, do której strzela Kuryerowy „Pan z miasta“ jest dr. Rabski najmilszy ze wszystkich faworytów pana Kanteckiego. Miłość tego „małego braciszka wielkiego księdza“ dla redaktora naszego jest tak płomienną, że gdy przed niedawnym czasem recenzent teatralny „Kuryera“, kapłan katolicki, wyraził się z uznaniem o dramacie Władysława Rabskiego, wyprosił za drzwi krytyka p. dr. Kantecki, a rękopis fatalny pogrążył w czeluściach kosza. Snać się obawiał ten najczulszy z przyjaciół naszych, że autor „Z w y c i ę ż o n e g o“ wyczytawszy pochlebną wzmiankę w „Kuryerze Pozn.“, złamie natychmiast pióro swoje, wołając rozpaczliwie „Nizko upadłem, bo „Kuryer“ mnie pieści.“ Zacny przyjaciel! Ocalił nam redaktora! Niech mu Bóg da zdrowie! I mówią tu jeszcze ludzie, że dr. Kantecki nienawidzi dr. Rabskiego. Zaręczam wam, — to komedya. Lwica nie kocha tak lwiątek swoich, orlica piskląt, bigotka spowiednika, jak ten poważny mąż naszego zuchwałego „Masona“. Niedawno Chochlik Przeglądowy wysłany na zwiady podsłuchał w oficynie „Kuryera“, jak redaktor w półśnie pogrążony, tak mruczał:

„Co za straszny los! Muszę błotem bryzgać to kochanie moje, bo to błoto nasze jest laurem dla niego i ożywczą rosą dla strudzonej ręki. Jedna pieszczota „Kuryera“, a jęknąłby z bólu. Co za straszna tragedya! Może on kiedyś z tego dramat potężny wysnuje! Cóż? Ja go pochwalić nie mogę.“

A co? Nie mówiłem wam! Bije wielkie serce w tem olbrzymiem ciele.

Potem zbudził się redaktor naczelny i zalewając się łzami, jął pisać artykuł. Pan dr. Rabski zrozumiał tragedyę p. Kanteckiego i posłał mu dzisiaj różę pąsową z napisem „Męczennikowi miłości“, a Sulli polecił ku wiecznej pamięci zapisać w Przeglądzie dokument Ibsenowskiej tragedyi, streścić artykuł „Kuryera“, porodzony we łzach i bólach straszliwych.

„Działo się w pamiętny wieczór wtorkowy na zebraniu wyborczem miasta Poznania. Rej wodziła niestety zgraja „tromtadratów“, którzy nietylko — o zuchwałości! — myślą samodzielnie, ale nawet — o piramidalna pycho! — śmią kwestyonować nieomylność ugodowców naszych. Pierwszy oczywiście wystąpił p. dr. Rabski, znany „ze swady oratorskiej“ retor poznański, i rozzuchwalił się do tego stopnia, że odsłonił wyborcom niebezpieczeństwo ustawy przewrotowej. Wykładał „jak łopatą“ i naraził nas otwartością poglądów swoich na straszne niebezpieczeństwo. Odważył się on nazwać bohaterami takich Ordonów i Sowińskich, których przecież „ustawa“ piętnuje mianem „zbrodniarzy“, — odważył się urągać trybunałom pruskim i pouczać wyborców, że nowa „ustawa“ zagraża energicznej obronie praw narodowych, — odważył się mówić o rozgoryczeniu polskiem, z którego nieraz płynie protest bolesny ku wyżynom państwa, — jednem słowem, odsłonił karty przed ministrami. Powinien przecież pamiętać młody orator, że rząd niemiecki jest ciemny jak tabaka w rogu i dopiero od p. dr. Rabskiego dowiedział się o uczuciach i aspiracyach narodu. Pocóż to mówić publicznie o Mickiewiczu i Słowackim, którym nowe prawo konfiskatą zagraża, pocóż drażnić rząd deklamacyami o naszych bólach narodowych, — to wszystko jest brakiem uszanowania dla tronu i podnieca nieszczęsny patryotyzm, który jest największem nieszczęściem społeczeństwa. My jesteśmy Prusakami polskiego języka i niczem więcej, a jeżeli nimi nie jesteśmy, to dojrzałość polityczna dyktuje symulacyę taką. Zuchwały retor poświęcił dla oklasku tłumów rozum polityczny. Rząd mścić się będzie strasznie i gotów cofnąć naukę języka polskiego, którą około Wielkiejnocy wprowadzić zamierzał. Zwycięstwu lojalizmu naszego przeszkadza zawsze tromtadracya. Jeżeli p. dr. Rabski uważał rezolucyę za konieczną, to mógł ją przedstawić bez uzasadnienia. Pocóż to informować tłumy, które i bez objaśnień pojmują dokładnie ustawę przewrotową. Niechaj sobie niemieccy politycy pouczają wyborców, — nasze mieszczaństwo jest tak dojrzałe, że zna na wylot treść i znaczenie prawa nowego. Ogólnikowy tenor rezolucyi świadczy również o niedojrzałości autora, który wiedzieć powinien, że rezolucya a memoryał — to identyczne pojęcia. Należało napisać dwutomową krytykę ustawy i dedykować ją Kołu polskiemu, — byłby to akt uszanowania i dowód, jak poważnie zapatrujemy się na sprawę. Wprawdzie rezolucya pana dr. Rabskiego odpowiada formą swoją wszystkim rezolucyom niemieckich związków i stronnictw politycznych, ale jest to znowu dowód, że p. dr. Rabski jest pozbawiony oryginalności i tylko kopiować umie. Byli na zebraniu poważni mężowie, gotowi zgromić zuchwałego śmiałka, ale dla świętej zgody milczeli pokornie. Tak! milczeli w imię dobra publicznego.

Drugim i jeszcze gorszym tromtadratą jest p. dr. Krysiewicz. On to odważył się zaproponować rezolucyą, żądającą ślislejszej komunikacyi między Kołem polskiem a społeczeństwem. Po oświadczeniu „nawiasem mówiąc bardzo zręcznem“ stronnika naszego p. dr. Mizerskiego, że reprezentacyom polskim w sejmie i parlamencie na dobrych chęciach nie zbywa, — wszelka rezolucya była zbyteczną. Żądanie p. dr. Krysiewicza ubliża posłom zasłużonym, którzy przecież lepiej pojmują interes polityczny od poznańskich eskulapów i literatów. Niech się panowie dr. Rabski i dr. Krysiewicz nie szczycą, że rezolucye ich zatwierdzono bez protestu i grzmotem oklasków przyjęto. Klaskała tylko zgraja tromtadratów a ludzie o wyższym rozumie politycznym odpowiadali pogardliwem milczeniem.“

Oto wierne streszczenie tego, co „Pan z miasta“ napisał w „Kuryerze“. Staraliśmy się nie pominąć żadnej z genialnych idei słynnego artykułu, a jedyną zmianą jest kilka drobnych komentarzy i przekład zakrytych aluzyi i niedopowiedzianych półsłówek na język zrozumiały i treściwy. Nie dziwcie się idyotyczności wiekopomnego elaboratu, bo pisała je ofiara strasznej tragedyi psychologicznej, pisał je — męczennik miłości. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA

Taaffe jako powieściopisarz. Rozmyślając nad znikomością tego świata i zaprawiając się do siejby hreczki, aby zmazać grzechy przeszłości, napisał hrabia Taaffe powieść p. t. „Spowiedź polityczna“, która niezadługo ma się pojawić w druku, ale tylko w 200 egz. jako upominek dla najbliższych przyjaciół. Pióro polityka ma być znakomite, a treść osnuta na tle tajemnic politycznych z ostatnich lat 10. Bohaterami są osoby odgrywające pierwszorzędną rolę w polityce i w „towarzystwie“, a pierwsze miejsce zajmuje eksminister, który podszeptami swojemi skłonił Taaffego do podjęcia akcyi, która skończyła się jego upadkiem. Drugie miejsce zajmuje pewna hrabina, odgrywająca wybitną rolę w Wiedniu. Nazwiska osób działających nie są wymienione, ale każdy z łatwością może się ich dorozumieć. Pisząc o tem, czyni „Wr. Allg. Ztg.“ żartobliwą uwagę, że co do kierunku, należy powieść do szkoły zreformowanej, a pojedyncze ustępy są tak dosadnio stylizowane, że grozi dziełu konfiskata na wypadek gdyby książka miała przejść do handlu księgarskiego.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Poseł do parlamentu niemieckiego, p. dr. Krzymieński, ogłosił list otwarty do wyborców swoich, z którego wynika, że Koło polskie nie powzięło jeszcze stanowczej uchwały w sprawie ustawy przewrotowej. Poseł kujawski upatruje w ustawie groźne niebezpieczeństwo dla narodu polskiego. — Po Wielkiejnocy odbędą się w kilku okręgach wyborczych Księstwa wiece w sprawie ustawy przewrotowej. — Przyjęcie rządowego projektu komunalnego prawa wyborczego wywołało w belgijskich kołach robotniczych wielkie niezadowolenie. W kilku kopalniach i fabrykach wybuchły bezrobocia. — Słynny z afrykańskich okrucieństw kanclerz Leist, skazany został na pozbawienie urzędu.

Teatr i muzyka. Rząd rosyjski zabronił w ostatniej chwili pani Modrzejewskiej urządzić w Petersburgu szereg gościnnych występów. W skutek tego układ między słynną artystką a panną Heleną Zimajer, angażowaną do współudziału w petersburgskich występach, nie przyszedł do skutku — Z dniem 15 czerwca rozpocznie się w nowym teatrze krakowskim po raz pierwszy letni sezon operowy, któremu śmiało rokować można powodzenie. Na razie zaangażowano następujących solistów: panie Mirę Heller, Konarską (z Warszawy), Eugenję Strasseru, Kasprowiczową, Skalską i Janinę Korolewicz, oraz pp. Aleks. Myszugę, Bandrowskiego, Jeromina i Gabrjela Górskiego. Chór przyjedzie ze Lwowa, a uzupełnią go śpiewacy z Warszawy. Orkiestry dostarczy kapela 13 pułku pana Hocka, reżyseryę objął p. Kamiński. — Meilhac wykończył nową czteroaktową komedyę p. t. „Wielki majątek“. — Prezes dyrekcyi teatrów warszawskich, p. Karandiejew powrócił już do Warszawy, odzyskawszy w Berlinie utracone zdrowie. — „Pan Senator“, komedya Kadelburga, tłomaczona z niemieckiego, stała się „sztuką kasową“ w warszawskim Teatrze Małym. — Paderewski święci w Paryżu nowe tryumfy

Dwa aforyzmy. Pewna dama prosiła przed laty Moltkego, a potem Bismarcka o napisanie słów kilku w jej pamiątkowym albumie. Feldmarszałek napisał, co następuje: „Kłamstwo ginie, prawda wieki przetrwa.“ A pod tem Bismarck: „Każdy wie, że na tamtym świecie jedynie prawda zwycięża. Przeciwko kłamstwom życia doczesnego daremnie zawsze walczy feldmarszałek“.

Zamek Berchtoldstein, rezydencya zmarłego Wł. Kościelskiego, jest jednym z najbardziej godnych widzenia starych zamków w Austryi. Nie pociąga jednak ku sobie jego architektoniczna piękność, lecz wewnętrzne urządzenie, o którem opowiadają prawdziwe cuda. Opisać wszystkich skarbów, jakie się kryją w jego murach, prawie niepodobna Zajmują one przeszło 20 olbrzymich sal, z których każda jest urządzona w innym stylu. Tu widzimy staroniemieckie jadalnie i sale rycerskie, tam francuzkie buduary i salony z niezwykłą urządzone elegancyą, tu według angielskiej mody urządzony pokój do pracy i prywatne biuro właściciela zamku; tam znów wabi twe oko piękna po turecku urządzona fajczarnia, i t. d. Elegancya i przepych, jaki tu panuje, wprawia w zdumienie. Naokół wszędzie, na stołach, na ścianach, na szafach, pełno najrozmaitszych drobiazgów, a każdy z nich jest prawdziwem arcydziełem sztuki. W jednej z szaf zbiór najdroższej sewrskiej porcelany, na ścianach wiszą warte tysiące gobeliny, na których wydziergana jest cała starożytna historya: na stołach stoją olbrzymie japońskie wazy z emaljowanego bronzu, srebra i marmuru. wreszcie na ścianach obrazy najlepszych mistrzów świata, przeważnie artystów polskich. Dzieł polskich malarzy i rzeźbiarzy znajduje się tam bardzo wiele. W zbrojowni, która w 40 szafach mieści broń wszystkich wieków i narodów, ustawionych jest ośm olbrzymich marmurowych biustow polskich bohaterów i poetów, a między innemi prześliczny biust Stefana Batorego. Na jednej ze ścian wiszą w tej sali dary, jakie zmarły Sefer-basza otrzymał od rozmaitych monarchów świata, a więc wysadzane drogiemi kamieniami honorowe szable od cesarza Franciszka-Józefa, sułtana, cesarza Napoleona III, księcia Walji, szpilki brylantowe i t. p. Znawcy samą zbrojownię oceniają na przeszło dwa miljony franków. Stajnia berchtoldsteinska należy do najpierwszych i z pewnością nie jeden z monarchów nie ma takiego zaprzęgu prawdziwych arabów, jakim jeździł zmarły Sefer-basza.

Zmarli:

Luigi Ferri, profesor filozofii w Rzymie, zmarł w końcu marca.

Ludwika Otto-Peters, zdolna nowelistka, zmarła w Lipsku w końcu marca.

Bronisław Chrzanowski, literat, współpracownik „Prawdy“, „Niwy“ i „Przeglądu Tygodniowego“, zmarł w Warszawie przed kiku dniami.

BIBLIOGRAFIA.

O bogactwie i piękności polskiego języka Ślązaków. Napisał Górnoślązak, wydał Br. Koraszewski, redaktor „Gazety Opolskiej“. Opole 1895 r.

Wincenty Rapacki (syn). Dama. Obrazek w 1 akcie wierszem. Poznań 1895 r.

Mieczysław Offmański. Monitor, czasopismo polskie z XVIII wieku. Lwów 1895 r.

Hieronim Truszkowski. W rękach żandarmów. Londyn 1895 r.

Goschen George, kanclerz skarbu angielskiego. Teorya kursów weksli zagranicznych. Z 15-go wydania oryginału przełożył Adolf Peretz. Cena 2.50 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Autorka poezyi „W imię boże“. Nie bierz imienia pana Boga twego nadaremno.

Szczęśliwa niezapominajka. Mimo najszczerszej chęci byłoby nam trudno zaspokoić ciekawość Pani. Utwór był anonimowy. List nosił stempel Poznania. Zresztą dyskrecya redakcyjna nie pozwalałaby w żadnym razie na odsłonięcie nazwiska.

Ks. Jacek Kamieński. Zamieścimy. Prosimy o dalsze korespondencye, lubo w szczegółach różnią się opinie nasze.

Stanisław Womela. Artykuł zamieścimy. Prosimy o podanie adresu.

Trzeźwy polityk. Artykułu Pańskiego nawet w rubryce „Wolnych głosów“ ogłosić nie możemy. Cała krytyka wiadomej instytucyi oparta jest na błędnych informacyach, a nadto roi się od złośliwych, a miejscami ordynarnych inwektyw.

K. F. W. Odpowiemy listownie.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Ludwik Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 16. Poznań, Niedziela 21go Kwietnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w **Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

„Stronnictwo narodowe.“

Uwagi nasze z powodu pojawienia się na widowni stolicy wielkopolskiej fikcyjnego stronnictwa, wywieszającego błyszczący szyld „Narodowe“, skłoniły, „Dziennik Poznański“ do wystąpienia w obronie własnego dziecięcia. Argumentacya anemicznego organu „ładu i porządku“ opiera się na dwóch kolumnach:

1) „Przegląd Poznański“ sprzeniewierzył się zasadzie demokratycznej, wywodząc lekceważąco, że „stronnictwo narodowe“ reprezentowane było oficyalnie przez zecerów „Dziennika“.

2) O uprawnieniu stronnictwa nie decyduje odrębna organizacya z oficyalnym zarządem na czele, lecz przedewszystkiem skutek jaki osięgają występy tego stronnictwa. „Stronnictwo narodowe“ zwyciężyło „znaczną większością głosów“, a tem samem dowiodło, że liczyć może na silniejsze poparcie społeczeństwa niż obóz grupujący się naokoło „Przeglądu“.

Tak argumentuje „Dziennik Pozn.“, opierając według ulubionej metody polemikę swoją na fałszywej interpretacyi artykułów naszych i tendencyjnie zabarwionej charakterystyce położenia. Przedewszystkiem odpieramy stanowczo twierdzenie, że jakimkolwiek przedstawicielom uczciwej pracy — czy im na imię zecer, czy redaktor — ubliżać pragniemy. My z tego jedynie powodu podnieśliśmy fakt urzędowej reprezentacyi „stronnictwa narodowego“ przez drukarzy „Dziennika“, aby odsłonić autora tej nowej sztuczki politycznej, którym nie jest nikt inny tylko p. Dobrowolski. Jest to oryginalna inwencya Dziennikowego redaktora en chef i produkt do tego stopnia samoistny, że w chwili pojawienia się na sali listy „stronnictwa narodowego“ najbliżsi przyjaciele Dziennika, najfanatyczniejsi żołnierze „ładu i porządku“ pytali zdumieni, kto powołał do życia stronnictwo, kto je zorganizował, kto wymyślił firmę. Listę ułożył z polecenia p. Dobrowolskiego tajny tryumwirat, składający się z jednego mecenasa, naczelnego redaktora „Wielkopolanina“ i sprawozdawcy „Dziennika Poznańskiego“, używanego zwykle przez redaktora en chef do pewnych dyskretnych manipulacyi ze względu na rozczulające posłuszeństwo swoje i subordynacyą. Nazwiska kandydatów wydrukowano w oficynie „Dziennika“, a na świstkach papieru przylepił pan Dobrowolski lśniący tytuł: „Stronnictwo narodowe“. Tak powstało stronnictwo. Rolę oficyalnych reprezentantów rozdał pracodawca pan Dobrowolski między pracobiorców swoich t. j. zecerów z własnej drukarni i polecił im proklamować „narodowe“ kandydatury. W ten sposób osiągnięto również wrażenie pewnej „demokratyczności“: Lista wyszła rzekomo „z łona ludu“.

Lekceważenie „zecerów“, — z którego „Dziennik Poznański“ bije kapitał polityczny — jest nam zupełnie obcem; odsłoniliśmy jedynie istotę owego demokratyzmu i źródło fikcyjnego stronnictwa. Podobnie jak „Goniec Wielkopolski“ pod własną firmą ogłosił listę kandydatów, tak i lista „stronnictwa narodowego“ powinna nosić tytuł: „Lista Dziennika i Kuryera Pozn“, — a w przypisku komentarz: „Rządy zakulisowe spoczywają nadal w rękach p. Dobrowolskiego.“

Błędną jest rownież druga argumentacya oponenta naszego, bo opiera się w pierwszym rzędzie na dwóch fałszywych informacyach. Mija się z prawdą „Dziennik Poz.“, wywodząc, że stronnicy jego zwyciężyli znaczną większością głosów, bo różnice były do tego stopnia minimalne, że ławnicy po dwakroć schodzili z estrady, aby skontrolować liczbę głosujących. Jeżeli nadto zważymy, że kolumny ruchu ludowego nie zjawiły się na placu boju, to zwycięstwo „stronnictwa narodowego“ nie przedstawi się jako dzieło siły, lecz jako dzieło przypadku.

Mylnem jest również twierdzenie, że „ład i porządek“ odniósł na całej linii tryumf stanowczy i świetny. Obóz „Dziennika“ zwyciężył przy wyborach „Komitetu“, lecz poniósł porażkę przy wyborze delegata, — tam Ligny, tu Waterloo. My na rezultat walnego zebrania nie skarżymy się bynajmniej, bo dla naszego politycznego programu delegat z postępowych szeregów jest wybitniejszym atutem niż kilku stronników w szeregach komitetu miasta Poznania.

Pomijając jednak przekręcanie faktów, to Dziennikowa obrona „stronnictwa narodowego“ nie wytrzymuje najłagodniejszej krytyki. Organ „ładu i porządku“ stara się skonstruować definicyę „stronnictwa“ jako pojęcia, ale wkraczając w dziedzinę filozofii, w ktorej ten tylko z powodzeniem obracać się może, kto rozporządza obfitszym zasobem wiedzy, logiki i gimnastyki umysłowej, buduje określenie mętne i skrzywione. Według opinii „Dziennika Poznańskiego“ znamienną cechą „stronnictwa“ jest siła i do egzystencyi uprawnia je tylko pomyślny rezultat publicznych występów. Z definicyi takiej wynikałoby z żelazną konsekwencyą, że pewna grupa ludzi wtedy zyskuje znamiona stronnictwa, jeżeli na mocy liczebnej potęgi swojej odnosi zwycięstwo w tej lub owej dziedzinie życia społecznego, a traci je natychmiast i jako stronnictwo istnieć przestaje, gdy występy jej na arenie publicznej znamion siły nie posiadają. W logicznym rzeczy porządku nie miałoby zatem racyi bytu i prawa tytułu ani stronnictwo papiezkie we Włoszech, ani stronnictwo Orleanistów we Francyi, ani stronnictwo Welfów w Niemczech. Nie mogłaby również w formie stronnictwa występować żadna grupa ludzi reprezentujących jakieś teorye nowe i reformacyjne, bo szeregi takich pionierów jutra stanowią zawsze mniejszość i nie mając siły w pierwocinach działalności swojej, dążą do jej zdobycia. A przecież nazwy stronnictwa nikt im nie odmawia, jeżeli hufce równomyślnych ludzi 1) zszeregują się około wspólnego, jasno określonego i mniej więcej przynajmniej jednolitego społeczno-politycznego programu, 2) jeżeli posiadają własną, odrębną organizacyę. Nie siła zatem lecz program i organizacya stanowią charakterystyczne cechy stronnictwa, a „stronnictwo narodowe“ żadnem z znamion powyższych wylegitymować się nie może. Wyraz stronnictwo w znaczeniu społeczno-politycznem mieści w sobie nieodzowny postulat pewnych cech formalnych, podobnie jak wyraz „małżeństwo“ określa również stadło połączone według pewnego szematu formalnego. Dwoje ludzi w znaczeniu prawnem, staje się wtedy dopiero małżeństwem, jeżeli dokonali ślubów przepisanych, i stronnictwo w znaczeniu społeczno-politycznem nie jest stronnictwem, jeżeli brak mu programu i formalnej organizacyi.

„Stronnictwo narodowe“ dotychczas nie ogłosiło żadnych programów politycznej lub społecznej natury, a w obec tego, że wśród osób, głosujących za listą tego stronnictwa, znalazły się obok obywateli o barwie „Dziennika“ i „Wielkopolanina“ jednostki o zabarwieniu „Kuryera,“ trudno nam nawet posunąć się do tej koncesyi, by bezbarwny, mętny i chwiejny bezustannie program „Dziennika“ poczytać za program stronnictwa. Być może, że p. Dobrowolski nosi się z zamiarami kartelu, ale oficyalność partyi kartelowej uznamy pod tym jedynie warunkiem, jeżeli ogłosi społeczeństwu kompromisowe stanowisko w sprawach społecznych i politycznych, oraz przedstawi organizacyę partyjną na wzór innych stronnictw europejskich.

Nie wątpimy ani jednej chwili, że p. Dobrowolski odczuwa w całej pełni słuszność zapatrywań naszych, bo przed kilku zaledwie miesiącami starano się w samej rzeczy z jego inicyatywy i z rozkazu wyższego o istotną organizacyę kartelu z programem społeczno-politycznym i zarządem na czele. Odbyły się nawet pod hasłem „ładu i porządku“ pourpar-

lers między stronnikami Kuryera i Dziennika Pozn. a na przedwstępne te narady zaproszono podobno, oprócz kilku redaktorów, mecenasów, konserwatorów i lekarzy, jednego z posłów naszych. Porozumienie jednak nie przyszło do skutku i po krótkiej polemicznej dyskusyi pochowano myśl założenia stronnictwa.

Pan Dobrowolski atoli nie dał za wygrane i nie mogąc na drodze legalnej przeprowadzić zamysłów swoich, chwycił się starym zwyczajem „bezprawia,“ — nie mogąc stworzyć organizacyi partyjnej i narzucić jej programu „Dziennika,“ przylepił na własną rękę i własną odpowiedzialność etykietę fikcyjnego stronnictwa na liście komitetowej. Jest to dyplomatyczna spekulacya w interesie chwili, a że pewna kategorya spekulantów naszych nie cofa się przed żadnem nadużyciem, o tem przekonały nas dokładnie najświeższe dzieje rozwojowych zapasów w społeczeństwie naszem.



Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego.

Wychodzący w Pelplinie „*Pielgrzym*“ (nr. 30 tak pisze o zmarłym wydawcy „Gazety Leckiej“:

„W mieście Lecu we Wschodnich Prusach umarł M. Gers, długoletni wydawca polsko-ewangielickiej „Gazety Leckiej“. Na Mazurach mieszkają Polacy, lecz ewangielicy. Gers pracował przeszło 50 lat piórem dla dobra swoich rodaków i ma wielkie zasługi. Lecz ów Gers jest żywem świadectwem, że jeżeli się chce dla ludu, którego coś uczynić, podnieść go w oświacie, zachować jego byt, to trzeba koniecznie wskrzesić, obudzić i pielęgnować w nim poczucie narodowe i miłość własnej narodowości. Gers znal naród polski, lubił go i wysoko cenił, ale w polskich Mazurach nie chciał widzieć i uznać Polaków, lecz tylko mazurów. On kochał tych mazurów po swojemu, ale nie miłował ich jako ojciec miłuje swego syna, brat brata, jako kość z kości swojej. Nie należał do tych, którzy pragną, aby język polski jak najrychlej zniknął z pośród polskiego ludu, nie był zwolennikiem gwałtownej germanizacyi, a przecież 50letnią pracą swoją nie dopiął nawet tego, ażeby po nim było komu „Gazetę Lecką“ wydawać, owszem musiał, gdy już sam nie był w stanie, wydawnictwa tego kilka lat przed śmiercią zaprzestać. Dla czego? Nie dla tego, aby Mazury czytać po polsku nie chcieli: lecz dla tego, że dla braku przywiązania i miłości do ojczystego języka i narodowości i wobec upatrywania w niemczyźnie zbawienia dla polskiego ludu, nie ma nikogo, coby dla ludu polskiego umiał i chciał pracować, pisać, budzić go, oświecać i prowadzić. Brak poczucia narodowego staje się przyczyną opuszczenia ludu ze strony inteligencyi czyli wykształconych ludzi przyczynia się do tego, że lud nie czyta, nie myśli o sobie, że upada duchowo i zwolna grzęźnie w ciemnocie.“

O nowej owacyi dla Bismarcka donosi „*Gazeta Grudziądzka*“ w nr. 48:

Żyje Bismarck i ma jeszcze wielkie szczęście do kobiet niemieckich, którym potrafił wyperswadować, że wielbiona u nich przez Goethego kobiecość (das ewig Weibliche) wcale ich nie zdobi i polakożerczość więcej byłaby im do twarzy. Zacietrzew.one Niemkinie rzuciły poezyą do kąta, kopystki także i dalej w myśl Bismarcka . . . do czwartego zaboru Polski! Zdobyły już tarczę wielką i poniosą ją 21 bm. w tryumfie do Friedrichsruh. Na tarczy tej orzeł biały i rycerz polski pokonani przez złowróżbnego czarnego ptaka, a niżej biedna nasza Wisła i Warta, na których „straży“ stoją dwie tłuste niemieckie niewiasty.“

W nr. 85 „*Orędownika*“ czytamy następujące uwagi z powodu napaści „Kuryerowych“ na pp. dr. Krzymińskiego i dr. Rabskiego:

„Kuryer Pozn.“ niezadowolony i z posła dr. Józefa Krzymińskiego i z wystąpienia p. dr. Rabskiego na wtorkowem zebraniu wyborczem partyi dworskiej. Jednego i drugiego „Kuryer“ strawić nie może; pierwszego dla tego, że wysłany do Berlina przez wyborców, śmie smym wyborcom tłomaczyć się ze stanowiska, jakie w Kole polskiem zajmuje; drugiego dla tego, że na zebraniu, zwołanem przez partyą dworską, pokiereszował szyki tej partyi.

Nie znamy regulaminu redakcyjnego „Kuryera“, za który się schował ks, kanonik Echaust, gdy drukował w „Kuryerze“ list ks. Arcybiskupa, wypierający się artykułów „Kuryerowych“, ale tak nam się wydaje, że byłoby może na czasie, aby ksiądz kanonik Echaust zajrzał i do tego Regulaminu i zregulował go jakoś — podług potrzeby czasu. Jeżeli bowiem „Kuryer“ będzie swych czytelników tak dalej częstował podobnemi artykulikami, jak o dr. Krzymińskim i dr. Rabskim, to rozdział między duchowieństwem a inteligencyą naszą — z łaski Regulaminu redakcyjnego „Kuryera“ — będzie się stawał z dniem każdym coraz większy. Inteligencya ma niewątpliwie obowiązek pracować nad utrzymaniem dobrego stosunku z duchowieństwem, ale nie sama; obowiązek ten ciąży także na duchowieństwie — i to ze względu na interes polskiego Kościoła katolickiego w zaborze pruskim. „Kuryer“ robi wszystko, co możliwe, ażeby się w tym punkcie duchowieństwo nasze jasno nie oryentowało.

. . . .

Na dwa artykuły wysadził się „Kur.“, aby wprost ośmieszyć p. dr. Rabskiego. Wie dla czego, wie, że dr. Rabski troszkę zamieszał interesa partyi dworskiej na wtorkowem zebraniu; czuje, że wszyscy, którzy w Poznaniu jeszcze zachowali zdolność politycznego myślenia, przyklasną szczerze p. dr. Rabskiemu i ucieszą się równie szczerze, że na zebraniu partyi dworskiej znalazł się ktoś, który rozsądne słowa wypowiedział. Ztąd — gniewy!

„*Gazeta Toruńska*“ tak pisze w nr. 84:

„Nas doszła wiadomość, że w centrum a także w Kole polskiem odzywają się głosy za poparciem ustawy przewrotowej, celem ratowania — parlamentu. Widocznie centrum przez ograniczanie swobód obywatelskich i przez posunięte do ostateczności ustępstwa na rzecz rządu, pragnie udowodnić, iż jest zdolnem do rządzenia (regierungsfähig) a posłów polskich łudzą centrowcy nadzieją, że uzyskawszy przeważny wpływ na na kierunek spraw publicznych i nam zapewnią ulgi.“

Rozpisując się zaś w nr. 85 o rezolucyach poznańskich taki załącza komentarz „Gazeta Toruńska“:

„Gdyby nasze komitety zechciały zwołać wyborców, nie znalazłby się ani jeden powiat, któryby nie podzielił zdania wyborców poznańskich. Wobec ważności sprawy byłoby rzeczą pożądaną, aby Koło jak najrychlej powzięło stanowczą decyzyę i ogłosiło ją tak rychło, żeby wyborcy jeszcze przed głosowaniem w parlamencie mogli się wyprzeć solidarności z Kołem polskiem, gdyby większość jego, czego nie przypuszczamy, oświadczyć się miało za ustawą przewrotową. Trzeba bowiem wiedzieć, że wyborcy polscy przepuszczą Kołu polskiemu jeszcze dziesięć projektów wojskowych, gdyby poprzeć je uznało za stosowne, ale najmniejszego uszczuplenia swobód obywatelskich nigdyby reprezentantom swoim nie przebaczyli. Słusznie bowiem zauważyła „Gaz. Gr.“, że łatwiej nam przetrwać nowe kulturkampfy i nowe ustawy antipolskie, niż znieść ustawę przewrotową. Ta ustawa ułatwiłaby zresztą przeprowadzenie najszkodliwszych dla nas ustaw, zamykając usta wszelkiej opozycyi w prasie i na wiecach.“

W sprawie otwartego listu Dr. Krzymińskiego do wyborców takie wygłasza opinie „*Orędownik*“ w nr. 86:

„Kuryer“ i „Dziennik“ uznali za stosowne zganić niektóre zdania z Listu otwartego posła dr. Krzymińskiego. „Dziennik“ czepia się strony formalnej, „Kuryer“ zasadniczej. I dla tego, co „Kuryer“ z powodu tego listu napisał, nie obchodzi tylko dr. Krzymińskiego, ale całe społeczeństwo.

„Kuryer“ z swego stanowiska, z stanowiska partyi dworskiej, ma oczywiście racyą. Na pierwszem miejscu stawia on koleżeńską solidarność posłów naszych względem siebie samych, a na drugiem dopiero miejscu solidarność posłów z narodem. Ta druga solidarność jest tylko na to, żeby posłów z swoich kół wybierać, a pierwsza solidarność na to, żeby posłowie w Kole stanowili w sobie zamknięty cech, nie z tego cechu nie wypuszczali i zakryci tajemniczością obrad, rządzili społeczeństwem jak im się podoba.

Nie mógł też Otwarty list posła dr. Krzymińskiego przypaść do gustu organom partyi dworskiej; bo w Liście był stosunek tych dwóch solidarności przedstawiony.

Poseł dr. Krzymiński odzywając się publicznie, tem samem stwierdził: że solidarność posłów z narodem stawia na pierwszem miejscu i od tego obowiązku dopiero czyni zależną koleżeńską solidarność względem kolegów w Kole.

Nie potrzebujemy dodawać, że szerokie koła ruchu ludowego przyklasną p. dr. Krzymińskiemu, bo solidarność koleżeńska w Kole jest rzeczą poszanowania godną, ale po nad nią stoi — interes narodu.

Oczywiście krok p. dr. Krzymińskiego jest czemś nowem, zrywa z starą tradycyą Kół naszych, jest niebezpieczny dla polityki staroszlacheckiej, a mianowicie dla partyi dworskiej, bo jak tak zrobi jeden i drugi poseł, to cały pałacyk Wzajemnej Admiracyi i Adoracyi, w którym posłowie nasi ciepło dotąd siedzą, pójdzie w okruchy.

Czują to organa dworskie, dla tego atakują dr. Krzymińskiego, czepiając się nawet drobnostek“.

WŁADYSŁAW RABSKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(*Ciąg dalszy*).

Scena IV.

Ci sami i Wolski.

WOLSKI.

Panie hrabio! Słyszałem ostatnie słowa. Pan nie masz prawa...

WARECKI.

Bez deklamacyi, panie Wolski! Ja od pana nie żądam żadnych wyjaśnień, a za mnie mówić będzie kuzynka moja (*wskazuje na Melanię i wychodzi na lewo*).

Scena V.

Melanja. Wolski.

WOLSKI (*po chwili milczenia*).

A więc odmówił!

MELANJA (*w zakłopotaniu*).

Panie Zygmuncie! Mnie o nic nie winuj, walczyłem za was, — niestety napróżno.

WOLSKI.

O! wiem pani i ufam tobie zupełnie... Ale on!... on! „Arcykomicznne?!“ Porachujemy się panie Warecki (*grozi drzwiom, przez które wyszedł Warecki*).

MELANJA.

Żadnych szaleństw! — Proszę pana...

Wolski.

Moją być musi, choćby mi przyszło przemocą wtargnąć w dom tego starca. Tylko jedno, pani Melanjo, jedno chcę wiedzieć: Czy ja liczyć mogę na Martę?

MELANJA (*z pewnem wahaniem*).

Marta oddaną jest Panu, ale ojciec to głaz nieugięty. Od czterech lat bywasz pan w salonach moich i poznałeś ten wielki nasz świat. Czasem rzuca on hasła liberalne ale na dnie duszy pozostał zawsze ten sam, — kasta i nic więcej. Wy artyści macie wyjątkowe stanowisko, lecz nie przeceniajcie go. Pieszczą się wami w salonach, ale rodzinę zamkną przed wami — zamkną ją mianowicie wtedy, jeżeli poczują w was wrogów przywilejów swoich... Panie Zygmuncie!... Prawie byłoby rozsądniej... (*waha się*) zresztą ja sama nie wiem... bałam się tej chwili, drżałam przed wyrokiem, bo znam kamienną dumę Wareckich.

WOLSKI.

Złamię ją, choćby kark własny przyszło położyć. Ale Marta... jeżeli ona ulęknie się ojca... jeżeli...

MELANJA.

Co pan zamierza?...

WOLSKI.

Sam jeszcze nie wiem, ale muszę ją widzieć dziś jeszcze koniecznie. Tylko ty pani nie odbieraj mi odwagi, nie opuszczaj mnie.

MELANJA.

Drżę przed Wareckim. On czujny i podejrzliwy. Skoro pana tu jeszcze ujrzy, marzyć nie można o sekretnem spotkaniu.

WOLSKI.

Więc w parku czekać będę na skinienie pani. — w alei świerkowej. Niechaj tam przyjdzie lub tu przyjść rozkaże.

MELANJA.

Dobrze.... Ale nie wiem... boję się czegoś.

WOLSKI (*całuje ją w rękę*).

Mój anioł stróż mnie nie opuści. Do widzenia! W alei świerkowej!

(*wychodzi drzwiami frontowemi*).

MELANJA. (*idzie ku oknu i spogląda za Wolskim*).

Jaki on piękny z tym ogniem w oku i przekleństwem w ustach.

(*po chwili*).

To zimne braterstwo jego boli jak jałmużna... A gdybym ja... Nie! Nie! Miłość moja to jak spóźniona w odlocie jaskółka i słońca nie ma już dla niej.

(*Drzwiami po prawej stronie wchodzi hr. Ka[illegible] Warecki. Krawat jego skrzywiony, chustką ściera pot z czoła*).

Przegląd prasy słowiańskiej.

Nader interesujący artykuł poświęca stosunkom finansowo-ekonomicznym Słowiańszczyzny północnej słowiński tygodnik naukowy, wychodzący w Tryeśbie, „S l o w a n s k i S v e t“:

„Biorąc rzecz z ogólno słowiańskiego stanowiska, nasuwa się dziś już pytanie uzasadnione, czy Bułgarya i Serbia warte były tylu ofiar, aby uzyskać swobodę polityczną, którą niespełna od lat dwudziestu posiadają. Stosunki, jakie obecnie tam panują, zmiana, jaka na południu Słowiańszczyzny zaszła, pożądane być mogą tylko Niemcom, a więc wrogom Słowian. Niemcy mieli osobne na półwyspie bałkańskim rachunki i w rachunkach tych się nie zawiedli. Słowiańszczyzna południowa znajdowała się, dopóki była pod rządami Turcyi, poza sferą ich wpływów, dziś niemczyzna i żydostwo kraje te zalewa. Na Serbii i Bułgaryi okazała się w całej pełni owa prawda, że stosunki ekonomiczne, zawisłość finansowa w ścisłym stoją związku z wolnością polityczną. Bułgarzy i Serbowie popadli dziś pod panowanie Wiednia i Berlina i zawisłości tej się nie pozbędą, dopóki finansowo nie staną się samodzielnymi.

Fatalna polityka ekonomiczna Stambułowa i Milana zwiększała z każdym rokiem długi państwa; długi te mają dziś już mało widoków opłacalności, a politycy antysłowiańscy śmieją się cichaczem, że im się udało zdobyć dwóch mistrzów, pracujących po ich myśli.

„Przez zaprowadzenie w krajach tych nowożytnej konstytucyi powstała korupcya. Żydostwo, które przedtem na małą tylko skalę ludność demoralizowało, obecnie taktykę zmieniło, poczęło się panoszyć w obu krajach, wykupując wszystko, cokolwiek do handlu się nadawało. Żydzi pozbawili oba kraje tylu bogactw naturalnych, że spustoszenia, którego dokonali, nie można porównać z nieszczęściami, jakie Słowian spotkały podczas 500letniej niewoli tureckiej.

Serbscy i bułgarscy mężowie stanu nie zastanawiają się nad tem, że kraj w ten sposób obłupiony n i g d y n i e z d o ł a w y b r n ą ć z d ł u g ó w, w które wpadł obecnie. Bułgarya i Serbia jest dziś wydaną na pastwę cudzym spekulacyom finansowym.

„W Serbii zaszły już rzeczy tak daleko, że pożyczek udzielać jej nikt nie chce. Do tego samego stanu dąży Bułgarya. Wielki handel i przemysł wyzyskują cudzoziemcy; zubożali chłopi, zrujnowani podatkami idą do fabryk, których właściciele żydzi i Niemcy, znający smutną sytuacyę, wyzyskują robotników niesłychanie. To też już w Serbii i Bułgaryi mamy socyalistyczne pisma i związki robotników, świadczące o tem, że wyzysk istnieje i jest odczuwany.

Obcy przedsiębiorcy wywożą z kraju materyały surowe i płacą za nie tyle, ile zechcą, zubożając tym sposobem kraj.

Tak gospodarka finansowa pogrąża Bułgaryą i Serbią w coraz to większą zawisłość od cudzych państw i cudzych kapitałów. Zawisłość ta przenosi się na politykę i zmusza oba kraje do prowadzenia polityki, sprzecznej ich tradycyi.

Obcy duchowi społeczeństwa aparat konstytucyjny, urzędnicy i wojsko pochłania tyle pieniędzy, iż nie stać na pokrycie wydatków na cele oświaty.

Serbowie i Bułgarzy jęczeli pod jarzmem tureckiem, ale nie zginęli, sił przyrody bowiem nie umiał Turek wyzyskiwać ani zniszczyć, ale tego dziś dokonał cudzy kapitał. Turek nie niszczył starych tradycyi narodowych, gdy dziś cudzy kapitał przynosi cudzy język, cudze towary, zwyczaje, i zabija ducha narodu.

Analogiczne stosunki panują w Chorwacyi. Zawisłość polityczna od Madziarów osłabia liczebnie Słowian; ekonomicznie z jednej strony niszczą Chorwatów podatki, z drugiej spekulacya żydowska. Czarnogóra jest jedynem państwem na południu Słowiańszczyzny, rozwijającem się pomyślnie.

„O Słowińcach i istryjskich oraz dalmatyńskich Chorwatach nie można podobnego wydać sądu, ponieważ zawiśli oni od ciał prawodawczych krajów poszczególnych i od państwowej polityki finansowej. Obecnie jest dla nich konieczną wewnętrzna organizacya, w którym to kierunku zaledwie pierwsze uczyniono kroki.“

„Jeżeli się nie będą organizować na każdem polu, stanie się, że cudzy i żydowski kapitał zdobędzie wszystkie majątki, przedsiębiorstwa, siły przyrody, jak tego mamy dowód w okolicach zamieszkałych przez Niemców i przez Włochów.

* * *

Białogrodzki dziennik „D n e v n i L i s t“, reprezentujący t. z. ideę wielkiej Serbii, połączenia Serbów węgierskich, chorwackich i austryackich w jedno państwo, tak się rozpisuje o rzekomym upadku moralnym stronnictw politycznych w stolicy Serbii:

„Wiele złego, które się dziś u nas dzieje, ma przyczynę w bezcharakterze jednostek. Tem jedynie daje się wytłomaczyć, że u nas zachodzą fakta, gdzieindziej niemożliwe.

Za to nam wstydzić się trzeba tak przed ludem serbskim, jak opinią publiczną Europy. Dziś u nas ludzie inteligentni nie wahają poniżyć się do roli powolnych pachołków władzy!... Inteligencya nasza wyszła z ludu, lud ją z wszelką gotowością postawił na czoło, a ona dziś interesa ludu zdradza, zdradza również naukę, sprzeniewierza się ideałom i sumieniu. Jeżeli u nas straci ktoś raz imię nieposzlakowane, to coraz więcej upada, aż w końcu błoto ustami pije!

Co gorzej to ludzie moralnie upadli mają smutną odwagę pokazywania się u nas w publicznych lokalach, towarzystwach, mają czelność mówienia o honorze, o imieniu nieposzlakowanem, o publicznem dobru i moralności, a nieledwie że nie wskazują na siebie palcem jako na wzór wszelakich cnót obywatelskich.

Przewodnicy naszych stronnictw politycznych są moralnie zobowiązani, ażeby ludzi takich z życia publicznego wykluczać. Tym to sposobem bowiem, że ich cierpimy, szerzy się demoralizacya i niewiara wśród ludu do przewodników, a dbać o tę czystość charakterów dziś powinniśmy w pierwszym rzędzie, bo żyjemy w czasach zaiste ważnych niezmiernie... W takich to chwilach na zaufanie wzajemne i szacunek przedewszystkiem powinniśmy baczyć.“

D. K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z życia ekonomicznego.

(Notatki).

III.

(Związki przedsiębiorców. Ich konsekwencye. Związek fabrykantów sukna. Związek browarów. Strejk w angielskich fabrykach obuwia. Nieudana konwencya fabrykantów wyrobów szklanych.)

Już od dawna dążenie przedsiębiorców do łączenia się w związki celem unormowania produkcyi, a co zatem idzie, podnoszenia cen swoich wyrobów, lub też w celu przeciwdziałania zmowom robotników. zajmuje uwagę badaczy, ekonomistów, działaczy politycznych i publicystów. Rozprawiano o takich związkach na kongresie ekonomistów w Wiedniu w ubiegłym roku, gdzie złożono nawet obszerną monografię, poświęconą temu przedmiotowi; rozprawiano też o nich na zjeździe partyi socyalno-demokratycznej w Kolonii. Ekonomiści nie bez słuszności zwracali uwagę na niebezbiepieczeństwo, jakie z tej strony grozi konsumentom i w ogóle z obawą patrzyli w przyszłość, doradzając interwencyą państwa przeciwko tej przewadze ekonomicznej. Dwaj tylko znaleźli się profesorowie: Brentano (z Monachium) i Wolf (z Zurychu), którzy wyśpiewywali dytyramby na cześć boga

---

S c e n a VI.

Melanja. Karol.

KAROL (*rzucając się w fotel*).

A!

MELANJA (*odwracając się nagle*)

Karolku!... Co tobie?

KAROL.

Nic, nic....

MELANJA.

Jesteś blady. Zasłabłeś może.

KAROL.

To nic. Lekki zawrót głowy...

MELANJA.

Nie szczery jesteś. Taisz coś przedemną.

KAROL (*zrywa się i gwałtownym ruchem pokój przebiega*).

Nie pytaj mnie, nie pytaj. Co ja pocznę teraz!

MELANIA.

Mówże nareszcie. Nie dręcz mnie dłużej.

KAROL (*ochrypłym głosem*).

Przegrałem... przegrałem na słowo... wszystko, wszystko. Leski wziął tysiące... krew i tuk z kości.

MELANJA.

Karolu!

KAROL.

Tak... przegrałem gotówkę, ...grałem na kredyt i jakiś szał mnie ogarnął... rozum straciłem. A! przeklęte karty. Wino szumiało w głowie, demon gry szeptał do ucha, dublowałem stawki, — wreszcie Leski kredytu odmówił i bank zwinął. Co ja pocznę teraz?!

MELANJA.

Ile? Ile przerałeś?

KAROL.

Czy ja wiem? Czterdzieści tysięcy marek, — może więcej... Nie pytaj... zmysły postradam.

MELANJA.

A! ten Leski! Zły duch, któremu już połowę majątku w paszczę rzuciłeś. Karty, giełda... mówiłam, błagałam... naprożno.

KAROL.

Stało się. Już nic mi nie wyrzucaj, bo chyba zwarjuję. Dałem słowo, — w przeciągu 24 godzin muszę zapłacić, a kredyt mój wyczerpany do szczętu. Nic nie pozostaje, tylko kula w łeb i — koniec.

MELANJA.

Szaleństwo! Trzeba uzyskać od Leskiego zwłokę, a przecież znajdziesz jaki środek.

KAROL.

Cóż mi po zwłoce? *po chwili*) Melanjo! Czy ty możesz mi pożyczyć tej sumy (*chwyta ją za rękę*). Ja kart już nie tknę,.,. przysięgam.

MELANJA.

Gdybym mogła, pokryłabym dług twój natychmiast, ale wiesz dobrze, że przed dwoma laty całą gotówkę oddałam, by ojca twego ratować, a dobra moje od śmierci męża coraz mniej przynoszą. Nic oszczędzić nie mogę i sama tonę już w długach.

KAROL.

Więc nie ma ratunku.

MELANJA.

A hipoteka Karłowic?

KAROL.

Nie ma co mówić. Nikt grosza nie da.

MELANJA.

Więc sprzedać Karłowice.

KAROL.

Sprzedać? tak! to ostateczny środek, ale spłaciwszy Leskiego, wyjdę ze wsi jak panna z tańca. Zresztą, kto dzisiaj kupi, kto ma kapitały? Chyba kolonizacya. A wtedy żegnaj mandacie poselski. Wiesz, że konkuruję o Izę Górecką. Stary to rachmistrz nielada, a pyszny jak paw. Zięć — właściciel Karłowic i poseł przyszły — nęcił go, ale Warecki — hołysz, to papier bezwartościowy na giełdzie matrymonialnej. Wieś, mandat i pannę — wszystko djabli wezmą.

MELANJA.

Jednak jakieś wyjście znaleść się musi. Trzeba z ojcem pomówić.

KAROL.

Gordyjskiego węzła nie rozetnie ojciec. Kupując dla mnie Karłowice, tak rodzinny majątek zaszargał, że gdyby nie twoja pomoc, runąłby już dawno. Dla Marty prawie nic nie zostało, a Turowo cudem niemal trzyma się w rękach naszych... (*po chwili*) Ha! nie ma rady.

kapitału. Pogląd socyaldemokratów był w części optymistyczny. Chcieli widzieć w tej koncentracyi „krok do urzeczywistnienia socyalizmu“.

Zjawisko jest nader złożonem, gdyż wchodzą tu w grę najrozmaitsze wręcz przeciwne interesy. Przedewszystkiem nasuwają się pytania:

1) czy konsekwencyą tego rodzaju związków nie będzie nadmierne podwyższenie cen produktów na niekorzyść konsumentów? Na pierwszy rzut oka zdaje się, że odpowiedź może być tylko twierdzącą. Jednakże dotychczasowe dane faktyczne nie zupełnie są zgodne z takim wnioskiem.

2) Czy przyczynią się one do dalszej koncentracyi kapitałów i podkopania drobnych przedsiębiorstw przez wielkie?

I na to pytanie trudno odpowiedzieć kategorycznie. Zdarza się bowiem, że drobni przedsiębiorcy dzięki warunkom danej gałęzi przemysłu mogą się łączyć, nie narażając na szwank swej samoistności, — w innych znów razach przestają oni istnieć samodzielnie i stają się jakby akcyonaryuszami wielkich przedsiębiorstw. W każdym razie ci, którzy pozostają po za koalicyą, — a częstokroć specyalne warunki kredytu i handlu lub rodzaj przedsiębiorstwa nie dozwalają niektórym wytwórcom na przyłączenie się, — zostają skazani na zagładę. Ten los spotyka również znaczną część pośredników, co dla społeczeństwa może być tylko korzystnem, gdyż zbyt dużo dziś traci ono sił i środków na funkcyę pośrednictwa pomiędzy producentem a konsumentem.

3) Jak pod wpływem tych koalicyi ukształcą się stosunki handlowe pomiędzy państwami?

Niektóre związki, dążąc do zmonopolizowania całej produkcyi jednej gałęzi, czego już dopiął syndykat naftowy towarzystw amerykańskich i rosyjskich, których połączenie jest dziś już faktem dokonanym, muszą dążyć do zniesienia wszelkich tam celnych. Inne ograniczając się na złączeniu producentów w jednem państwie będą i nadal prowadziły politykę protekcyjną.

4) Jak ułożą się stosunki pomiędzy przedsiębiorcą a robotnikiem?

Pohopny do uogólnień obserwator odpowie nam, że związki przedsiębiorców są bezwarunkową klęską dla robotnika, gdyż skazują go na łaskę i niełaskę naturalnych jego przeciwników. Jednakże faktem jest, że w ogóle położenie robotników w wielkich przedsiębiorstwach jest lepsze niż w drobnych. Drobny przedsiębiorca będzie się bronił przeciwko podwyższeniu robocizny do upadłego, wielki częstokroć zgodzi się na to, gdyż może się kontentować niższą ratą nadwartości, a przytem dzięki organizacyi, jaką wprowadzać dozwala wielkie przedsiębiorstwo, jest ono eo ipso produkcyjniejszem*). Chodzi więc tylko o to aby robotnicy przez tworzenie związków potężnych mieli możność przeciwdziałania potędze skoalizowanych kapitalistów. Miejmy nadzieję, że w obec takiego położenia konieczność swobody tworzenia związków robotniczych zostanie uznana przez prawodawców parlamentarnych.

Zadaniem tych notatek nie może być wyświetlanie zawiłych kwestyi powyższych. Ograniczamy się tu jedynie na podaniu faktów z tej dziedziny, przyczem nie mamy zamiaru nawet opisywać wszystkich istniejących związków, (czytelnik znajdzie odpowiednie dane w szczegółowo opracowanym artykule „Unternehmerverbände w „Handwörterbuch der Staatswissenschaften“, wydanym przez Conrada, Lexigaet i t. d.) podajemy jedynie fakty z ostatnich kilku. miesięcy o ile doszły one do wiadomości publicznej.

Znanym jest objawem, że związki fabrykantów bezrobocia są rezultatem strejków. Chodzi tu o przeciwdziałanie presyi bezrobocia. Do związków takich, których w Niemczech samych naliczyć można kilkanaście, przybył nowy. Połączyli się fabrykanci sukna w prowincyach nadreńskich. Z konwencyi zawartej zaznaczyć należy, że związkowi zobowiązali się nie wchodzić samodzielnie w żadne układy z robotnikami strejkującymi. Skargi przeciwko nim wytaczane rozstrzygać będą sądy przemysłowe (Gewerbegerichte), natomiast zatargi pomiędzy fabrykantem i jego robotnikiem ma rozstrzygać sąd złożony wyłącznie z fabrykantów, których związek wybiera z pośród uczestników konwencyi. Charakterystycznem jest uznanie instytucyi państwowej jako instancyi policyjnej przeciwko robotnikom. lecz odrzucenie jej jako sądu polubowego i chęć utworzenia sądu z samych tylko przedsiębiorców.

Pokrewny charakter noszą dwie konwencje zawarte pomiędzy zarządami browarów, z których jedna obejmuje browary w północnych Niemczech, druga bawarskie. Obydwie zawarte w celu przeciwdziałaniu bojkotom. Pierwsza została wywołana wielkim bojkotem berlinskim, druga bojkotem monachijskiego browaru „Münchener Kindl“, z którego piwa nie chcieli pić robotnicy, ponieważ restauracya browaru odmówiła sali na zebranie robotnicze.

*) W Łodzi n. p. obok olbrzymich fabryk, zatrudniających tysiące robotników, istnieją zupełnie drobne przedsiębiorstwa, nie posiadające nawet własnych zakładów fabrycznych, zatrudniające tkaczy ręcznych, którzy na krosnach dostarczonych przez fabrykanta tkają jego przędzę. Położenie tych robotników jest smutne nad wszelki wyraz i istnienie tego rodzaju przedsiębiorstw dowodzi nie żywotności przemysłu drobnego, lecz zdolności głodzenia się robotnika.

W Berlinie utworzono fundusz, z którego mają być pokryte straty w razie nowego zatargu. W Bawaryi posunięto się dalej, gdyż zawarto ścisłą umowę, aby żaden browar nie dostarczał piwa odbiorcom innego, jeżeli ten podlegnie bojkotowi. Ażeby zmusić uczestników do przestrzegania ustawy, każdy z browarów złożył kaucję w wekslach in blanco. Obecnie jeszcze uraza, jaką żywi Berlin do Monachijum o to, że ztamtąd dostarczono piwa w czasie wielkiego bojkotu, jest w zbyt świeżej pamięci, ale wkrótce zapewne nastąpi połączenie obu związków.

W Anglii związki fabrykantów w celu przeciwdziałania trade-unionom istnieją już oddawna. W ostatnich właśnie dniach wystąpiły do walki ze sobą dwa takie związki. Robotnicy w kilku fabrykach obuwia zażądali podwyżki płacy, i nieotrzymawszy jej zastrejkowali, na co fabrykanci odpowiedzieli wydaleniem robotników ze wszystkich fabryk tej gałęzi. 200 000 robotników tym sposobem świętuje. Związek ich rozporządza sumą 63,000 fstr., a ponieważ liczą na poparcie robotników amerykańskich będą mogli wytrzymać strejk w przeciągu 6—8 tygodni. Tymczasem jest obawa, że obuwie amerykańskie zaleje rynek angielski.

Syndykat przeciwko wyzyskowi handlarzy zawarli fabrykanci wyrobów szklanych do lamp różnego rodzaju w Niemczech. Powstanie tej konwencyi jest dosyć charakterystyczne i dlatego opiszemy je nieco szczegółowiej. W roku 1887 zawarto w tej gałęzi przemysłu konwencje, obowiązując się nie sprzedawać towaru poniżej cen wspólnie ułożonych. Konwencja nie dała się utrzymać i dziś ceny po części nie pokrywają kosztów produkcyi. Powodem w danym wypadku była nie nadprodukcja, lecz brak kapitału obrotowego po stronie przedsiębiorców. Fabryki tego rodzaju bowiem, dla łatwo zrozumiałych przyczyn, począwszy od lutego do lipca włącznie, muszą produkować jedynie na skład. Łatwo więc było kupcom hurtownym, którzy zwykle rozporządzają znaczniejszym kredytem, narzucać warunki fabrykantom i zmuszać ich do zawierania kontraktów za jaką bądź cenę, a wiadomo przecież, że niekiedy fabrykant zmuszonym bywa do produkowania chociażby ze stratą byleby nie dać upaść przedsiębiorstwu, co pociągnęłoby za sobą zupełną stratę kapitału zakładowego. Doszło więc do tego, że w ostatnim roku sprzedawano po cenie o 5—10—20 procent niżej kosztu. Obecnie dzięki jednemu z tych właśnie pośredników zdołano zebrać kapitał zapasowy w ilości około 10 milionów marek. Fundusz ten dostarczy kapitału obrotowego fabrykom, które przystąpią do syndykatu. Ten zakupuje wszystkie wyroby zsyndykowanych,

---

Trzeba się starać o kupca i wyjść o kiju z Karłowic.

(*rzuca się rozpaczliwie na szezlong*).

MELANJA.

Nie patrz tak czarno... Trzeba pomyśleć... Ratami spłacisz Leskiego.

KAROL.

Nie wypada! a zresztą (*śmieje się z przymusem*) ten Shyllok!

(*za sceną słychać głosy zmięszane*).

MELANJA.

Cyt... idą.

(*wchodzi Leski, Ostrzyński i kilku panów*).

Scena VII.

Ciż, Leski, Ostrzyński i kilku panów.

LESKI (*wchodząc*).

Nie trzymam dłużej, bo od upału krew bije do głowy. (*kłania się Melanji*). Wolę z paniami pływać po jeziorze. marzyć o księżycu i liczyć złote gwiazdy na niebie.

OSRRZYŃSKI.

Rachmistrz z bankiera!

MELANJA.

Panu Leskiemu widocznie szczęście służyło.

OSTRZYŃSKI.

Łaskawa Pani! Wygrana w karty, to przegrana w miłości.

LESKI.

W takie przysłowia dziś tylko pensyonarki wierzą. Szczęście w grze to pieniądz, a pieniądz, to szczęście u kobiet.

MELANJA (*ironicznie*).

Więc zbankrutował pan Leski!

OSTRZYŃSKI.

Brawo! To Wolterowska odpowiedź.

LESKI.

Wielbię dowcip nawet wtedy, gdy sam jestem jego ofiarą.

MELANJA.

Na regacie zapomnę wszyscy o bólach. Łodzie gotowe, towarzystwo czeka w salonie, zatrąbmy bojową pobudkę.

OSTRZYŃSKI. (*spogląda na Karola, który siedzi nieruchomy*),

Vae victis!

(*Wszyscy zwolna wychodzą drzwiami na lewo. Ostatnim w szeregu jest Leski, który z ironicznym uśmiechem spogląda na Karola*).

KAROL (*zrywa się nagle*).

Panie Leski!

LESKI.

Hrabio Warecki!

(*Zatrzymuje się przed Karolem, reszta towarzystwa opuszcza scenę*).

Scena VIII.

Karol. Leski.

KAROL.

Proszę pana o minutę posłuchania.

LESKI.

Słucham. (*Chwila milczenia*) Słucham cię hrabio!

KAROL.

Suma przegrana do Pana wynosi około 40000 marek.

LESKI.

Tak jest! 40000 i setek kilka.

KAROL (*z widocznym ambarasem*).

Jest to suma tak wielka, że trudno mi będzie w przeciągu 24 godzin uiścić się z długu.

LESKI.

Sądziłem, że to drobnostka dla Pana.

KAROL.

Kredyt mój chwilowo wyczerpany... muszę prosić o zwłokę... ureguluję interesa, rozpatrzę się... proszę mi zaufać.

LESKI (*z ironją*).

O! panie Warecki, ja wierzę uczciwemu słowu, ale słowo to weksel tylko, nie gotówka. Zycie jest wzajemnem rabunkiem. Mnie obdarto wczoraj, ja dzisiaj obdzieram, a by zakryć własne dziury, nie mogę dziur pańskich oszczędzać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

płacąc z góry po cenach umówionych i sprzedaje z małą zwyżką na korzyść kasy syndykalnej. Zwyżka ta będzie użytą na koszta administracyi i amortyzacyę kapitału. 96 procent całego wyrobu Niemiec jest w rękach syndykatu. Czy nie pokusi on się o zbytnie wygórowanie cen? Zapewne posunie je do granic, na jakie pozwalają cła ochronne, o ile wygórowane ceny nie pociągną poważnych kapitałów do konkurencyi. W każdym razie wielu zapewne pośredników będzie musiało zwinąć chorągiewkę.

Wyzysk tych pijawek zajmujących się pośrednictwem zmusił również do zawarcia konwencji pomiędzy fabrykantami tkanin półwełnianych w prowincyach nadreńskich i pomiędzy przędzalniami w Saksonii. Postanowiono nie dawać długich nadmiernie kredytów. W danym razie powodzenie jest wątpliwe, gdyż właśnie w tych gałęziach przemysłu istnieje konkurencja uciążliwa i powszechna hyperprodukcja.

I. B. M.

LITERATURA I SZTUKA.

Alfons Szczerbiński.

Wspomnienia z życia muzyka.

Było to w roku 1878, kiedy poświęcając się wyższym studiom muzycznym na król. akademii muzycznej w Berlinie dowiedziałem się przypadkowo poraz pierwszy o pobycie w Berlinie mego ziomka, młodego kompozytora: Alfonsa Szczerbińskiego. Uradowany tą wiadomością i szczęśliwy, że niedługo poznam kolegę-ziomka, duszę pokrewną, spragniony i marząc o tej przyjaźni koleżeńskiej udałem się za wskazanym adresem, aby nawiązać nić przyjaźni, którą teraz śmierć niemiłosierna na zawsze przecięła. Alfons Szczerbinski mieszkał przy Lindenstrasse w dawnym klasztorze. Z wązkiej i ponurej celi klasztornej wyszła naprzeciw mnie nizka postać człowieka o cerze niezdrowej, o łagodnem i sympatycznem spojrzeniu, na wypogodzonem wysokiem czole, znać było delikatne ślady wytężonej pracy umysłowej, a krótko przystrzyżone włosy tem wyraźniej wykazywały kształtność czaszki, której budowa zdradzała więcej filozofa aniżeli artystę.

Zaambarasowany widocznie niespodziewaną moją wizytą, zaprosił mnie do skromnego swego mieszkania. Pogawędka o studyach, o sztuce, szczera wymiana naszych planów na przyszłość, wnet zbliżyły nas do siebie.

Od tego czasu Alfons Szczerbiński częstym był u mnie gościem, grywaliśmy dużo wspólnie, jadaliśmy razem, razem zwiedzaliśmy Berlin i nieraz do późnej godziny rozprawialiśmy dużo i z zapałem „de omni re scibili et quibusdam aliis.“ Już wtenczas uderzyła mnie obok wielkich zdolności muzycznych, tak fortepianowych jak i kompozytorskich, w kwestyach dotyczących sztuki pewna stanowczość, ale i zarazem wielka jednostronność sądu i smaku. Ideałem jego była muza Mozarta i Bacha. Wielki kontrapunkcista pociągał go głębokiemi kombinacyami harmonicznemi i logicznością w rozwijaniu prostego motywu muzycznego, Mozart zaś idealnem wykończeniem formy i tą jasnością i pogodą swej muzyki, którą Alfons Szczerbiński uwielbiał aż do przesady; nie znajdując jej u innych kompozytorów w takiem wykończeniu, wydawał o nich sąd nieraz niesprawiedliwy i tem zrażał sobie znajomych i nauczycieli. Technikę na fortepianie posiadał bardzo wyrobioną, choć także w jednostronnym kierunku i w polifonicznym. Zbiór fug i preludyi Bacha pod tytułem „Wohltemperirtes Clavier“ był codzienną jego strawą; prawie wszystkie grał z pamięci, niektóre transponował i grał na życzenie ex tempore w innej tonacyi, za to techniki nowszej fortepianowej nie opanował nigdy w tym stopniu, wskutek czego gra, pozbawiona brawury nie wywierała na nieznawców muzyki właściwego wrażenia. Mimo to gra jego była wysoko artystyczną i odznaczała się zawsze inteligencyą i sumiennością. Alfons Szczerbiński reprezentował w gronie naszem uporczywie kierunek konserwatywny. Mówił mało, ale myśli swe wypowiadał zawsze jasno zaprawiając je nieraz sarkazmem, ale mimo to lubiliśmy go wszyscy i ceniliśmy jego charakter prawy. Pracował i tworzył dużo; zachodziły jednak i dłuższe przerwy chorobą spowodowane, która go trapiła i od pracy nieraz odrywała. Coraz częstsze kłopoty o jutro odstraszały go nieraz na czas dłuższy od pracy. Mimo to posiadał Szczerbiński sporo utworów w swej kompozytorskiej tece. Prawie wszystkie jego prace poznałem i nieraz się zachwycałem ich pięknościami. Drukiem ogłosił autor kilka mniejszych utworów jak: Rondo G-dur, darowane pani M. Hulewicz, Rondo F-dur, darowane hr. Plater, dwa poszyty pieśni bez słów, z których pierwszy przypisał autor zacnemu swemu opiekunowi ks. Wawrzyniakowi i wspaniały Polonez na pamiątkę przyjęcia konstytucyi w Polsce 3go Maja 1791 r. W utworach tych uderza przedewszystkiem pewien artyzm formy, zatrącający nieraz konwencyonalnością. Myśl muzyczna uchwycona wszędzie jasno i logicznie przeprowadzona. Z wyjątkiem Poloneza, który ma zakrój utworów koncertowych, nadają się wydane kompozycye wybornie dla młodzieży uczącej się na fortepianie i śmiało zastąpić mogą jaki ograny do przesytu ustęp z sonaty lub inny utwór znanych dostatecznie kompozytorów. Pod względem technicznych trudności nie przekraczają utwory te nigdzie średniego stopnia.

Kompozycye, jak zwykle u początkujących artystów, nie przynosiły Alfonsowi Szczerbińskiemu prawie żadnych zysków, musiał się po części kontentować sławą, że je drukowano. Trzeba było więc pomyśleć i wynaleść inne źródła tem więcej, że przypływ niezbędnych funduszów coraz częściej się rwał, a u mnie groził wówczas całkiem wyschnięciem. Postanowiliśmy więc urządzić na prowincyi kilka koncertów. Temu zbawiennemu postanowieniu stanęła jednak naprzeciw wielka nieśmiałość Alfonsa Szczerbińskiego. Ledwie dał się namówić do koncertu w Śremie, zkąd pochodził. Przy pomocy czcigodnego ks. Wawrzyniaka urządziliśmy na auli gymnazyalnej pierwszy i ostatni zarazem wspólny koncert, na którym śp. Alfons wykonał kilka własnych utworów a pomiędzy temi ładne Rondo G-dur, które później ogłosił drukiem. Przed samem prawie występem narobił mi i zacnemu naszemu impresaryo niemało kłopotu, oświadczając stanowczo, że jest chory i wystąpić pod żadnym warunkiem nie może.

Kiedy więc prośby nic nie pomagały, chwyciłem się ostatecznie groźby, oświadczając, że przed drzwiami najęci ludzie już czekają, aby go z łóżka porwać i przemocą do sali koncertowej zaprowadzić. Ten żart poskutkował i poczciwy Alfons uzdrowiony wystąpił w koncercie, uparł się tylko przy tużurku, gardząc frakiem.

Koncert wypadł pod względem artystycznym dobrze, a ponieważ ks. Wawrzyniak pokrył prawie wszystkie koszta z własnej kieszeni, dostało nam się po kilkadziesiąt marek w udziale.

Kilka lat później wracając z Wiednia do Berlina na dalsze studya, zastałem tam znów Alfonsa Szczerbińskiego zajętego studjami na król. akademii muzycznej u profesorów Grella i Bargiela. Śp. Alfons zapoznał mnie z kilku Rosyanami, pomiędzy temi z sympatycznym kompozytorem Aleksandrem Iljinskim z Kazania i literatem Werneckingem z Moskwy, serdecznymi i nieodstępnymi odtąd towarzyszami. Z prawdziwym żalem zauważyłem, że życie Alfonsa nie usłane na różach. Choroba dogryzała mu coraz bardziej, walczył prócz tego z niedostatkiem; zasklepiwszy się prawie całkiem w muzyce Mozarta i wiernie styl ten naśladując, zabijał własną samodzielność coraz

---

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.*)

NOWELA.

Tłom. z orginału **M W.**

I.

Było to w siódmym dziesiątku bieżącego stulecia, nazajutrz po św. Mikołaju. W parafii był odpust i Bazyli Brechunow, gospodarz wiejski, kupiec drugiej gildii, nie mógł odjechać z domu: z rana musiał być w cerkwi, jako przewodniczący komitetu cerkiewnego, a później przyjmował i ugaszczał u siebie krewnych i znajomych. I wówczas dopiero, gdy odjechał ostatni gość, Brechunow zaczął się wybierać w drogę, do sąsiedniego dworu, aby nabyć ostatecznie od dziedzica las, który od dawna targował. Pilno mu było skończyć z tą sprawą, gdyż obawiał się, aby miejscy kupcy go nie ubiegli, pozbawiając dogodnego kupna. Młody dziedzic dla tego tylko żądał dziesięciu tysięcy, że on, Brechunow, dawał mu siedm, co wynosiło trzecią zaledwie część rzeczywistej wartości lasu. Bazyli potrafiłby może jeszcze coś utargować, las bowiem znajdował się w jego okręgu, a między nim i resztą powiatowych wiejskich kupców istniała od dawna umowa, na podstawie której żaden z nich nie podbijał ceny w okręgu drugiego, ale doszła do wiadomości Brechunowa wieść, że kupcy z gubernialnego miasta zamierzali rozpocząć targi o goraczkinowski las i to go skłoniło do dobicia niezwłocznie targu z dziedzicem. Skoro więc tylko skończył się odpust, Brechunow wydostał ze skrzyni 700 rubli własnych, dołączył do nich 2,300 cerkiewnych, które miał u siebie na przechowaniu, aby uczynić okrągłe trzy tysiące, wsunął starannie porachowane papierki do pugilaresu i gotów był już do jazdy.

Parobek Nikita, który jeden tylko z całej czeladzi Brechunowa był tego dnia trzeźwy, pobiegł zaprzęgać. Nikita znajdował się w stanie trzeźwym tego dnia dla tego, że był pijakiem i od zapust*), podczas których przepił sukmanę i buty, poprzysiągł sobie, że pić więcej nie będzie i od miesiąca przeszło nie brał do ust wódki. Nie pił więc i teraz pomimo pokusy, jaką w nim wzbudziła obfitość trunku, którym się raczono ogólnie w dwudniowe święto.

Nikita był mężczyzną lat 50, pochodził z sąsiedniej wsi i spędził większą część życia nie na własnem gospodarstwie, lecz na służbie u obcych. Chlebodawcy cenili go za pracowitość, zręczność i siłę w robocie, a głównie za dobry, łatwy w pożyciu charakter; pomimo to biedak nigdzie nie mógł ubyć przez czas dłuższy, ponieważ dwa razy do roku, a niekiedy i częściej oddawał się nałogowemu pijaństwu, a wówczas nietylko przepijał wszystko, co miał na sobie, ale stawał się nadto kłótliwy i zuchwały. Bazyli Brechunow wypędzał go też kilkakrotnie ze służby, ale później brał znowu, ceniąc jego uczciwość, miłość dla zwierząt domowych, przedewszystkiem zaś — taniość. Brechunow płacił Nikicie nie ośmdziesiąt rubli rocznie, ile wart był naprawdę taki parobek, ale czterdzieści i te wypłacał bez stałych terminów, kapaniną, najczęściej nawet nie pieniędzmi

*) „Pan i sługa“, obrazek Tołstoja, którego druk dzisiaj rozpoczynamy, doznaje ogromnego powodzenia w Rosyi. Firma wydawnicza „Pośrednik“ przygotowała jednocześnie dwa wydania (droższe i tańsze) i oba, w łącznej liczbie 15,000 egzemplarzy, rozeszły się w ciągu dni czterech. To samo opowiadanie wydrukowano w tomie 14 pism hr. L. Tołstoja. Tom ten, wydany w 10.000 egz., rozszedł się również w ciągu dni kilku. Natychmiast przygotowano nowy nakład 14 tomu pism hr. L. Tołstoja. W tych dniach rzeczona firma „Pośrednik“ puściła w obieg tanie wydanie dla ludu tejże powiastki po cenie bajecznie niskiej, bo 3 kopiejki za egzemplarz. — Przekład tej noweli zamieściło kilka czasopism warszawskich i galicyjskich. Korzystamy z przekładu „Kuryera Lwowskiego“.

*) Mowa tu o zapustach przed postem adwentowym, który prawosławni zachowują przez tyleż tygodni i niemniej ściśle od tak zwanego wielkiego postu przed Wielkanocą. (Przyp. tłom.)

bardziej, na pomysłach oryginalnych wyciskając piętno szablonu. To też nie tyle to, co stworzył ile raczej przekonanie, że byłby pozostawił daleko cenniejsze jeszcze utwory, gdyby smutne warunki i coraz bardziej rozwijająca się choroba nie była w zaraniu podcięły skrzydeł młodemu kompozytorowi i nie spaczyły najwybitniejszego talentu twórczego, jaki ziemia wielkopolska w ostatnim czasie była wydała, — zniewala mnie do wypowiedzenia na tem miejscu żalu szczerego z powodu tej straty dla sztuki naszej muzycznej. Nie ma u nas prawdziwego i głębokiego zamiłowania do sztuki muzycznej, brak nam też mecenasów, którzyby artystów młodych radą i czynem wspierali, instytucye nasze dobroczynne do niedawna jeszcze ignorowały młodzież zawodom artystycznym się poświęcającą nie dziw więc, że talenta w zapomnieniu giną zmuszone walczyć o chleb powszedni wtenczas, kiedy ze spokojem i skupieniem wszystkich sił pracować winny nad swem wykształceniem. Ofiarą tej obojętności naszego społeczeństwa padł także zacny Alfons Szczerbiński.

Niedługo po mem powtórnym przyjeździe do Berlina wyjechał kolega Alfons do hr. Platera do Niekłania pod Warszawę, gdzie przyjął miejsce nauczyciela muzyki. Nie wiem, jak długo na tem stanowisku wytrwał, ale przed kilku laty, kiedy mnie ostatni raz w Poznaniu odwiedził, opowiadał mi, że od lat kilku pracuje w Krakowie jako nauczyciel muzyki.

Skarżył się na los, że mu poskąpił materyalnych korzyści z mozolnej pracy, mówił że pracować w takich oprzykrzonych warunkach trudno, ba! nawet niemożebne, skarżył się na zdrowie, że go opuszcza coraz bardziej. Co do mnie to nie łudziłem się już więcej co do Alfonsa. Przeczuwałem, że długo nie wytrwa w tych stosunkach, że długo nie pożyje, ale łudziłem się do tyla porówno z nim może, że sądziłem, iż stosownie do robionych mu nadziei powierzą mu nareszcie przy konserwatorium muzycznem w Krakowie miejsce nauczyciela teoryi, lub gry na fortepianie, a śp. Alfons znalazłszy jakieś zadowolnienie ztąd, osięgnąwszy choć ten skromny cel w życiu, odżyje na czas jakiś. Omyliłem się. U siostry swej w Śremie znalazł ostatecznie wypoczynek po wędrówce pełnej śmiałych marzeń, ale niemniej bogatej w ciernie i kolce. Niech mu ziemia, która go wydała, lekką będzie!

Edwin Jahnke.

Na zakończenie artykułów o restauracyi ruiny kościoła N. P. Maryi w Inowrocławiu.

Chcielibyśmy się, pomijając wszelką polemikę, podzielić z czytelnikami kilku spostrzeżeniami, jakie poczyniliśmy przy ruinie za ostatniej bytności naszej przed kilku dniami w Inowrocławiu, i zwrócić uwagę na analogiczny przykład, jaki nam się nasunął w toku dyskusyi, podjętej w sprawie cennego zabytku architektury naszej.

Jak to fotografiami przed 4 laty na miejscu zdjętemi okazać możemy, ucierpiała ruina przez zaniedbanie jej w górnej części dość znacznie. Zabezpieczenie jej murów z góry cementem nie musiało być wystarczającem. O ile to z dołu dostrzedz było można, wieże tak wyglądają, jakby wogóle z góry nie były cementem zabezpieczone. Z ich wierzchu bowiem kilka warstw muru skutkiem wpływu powietrza ubyło, tak, że z pierwotnego gzymsu romańskiego wyższej wieży ledwo małe cząstki od dołu pozostały na oznakę, że wogóle jakieś artystyczne zakończenie wieży tam się znajdowało: Jeden górny łuk okienkowy z tyłu tejże wieży już się zapadł, a w 2 innych łukach okienkowych z przodu również cegły zwornikowe się pozesuwały, tak, że wkrótce i te dwa łuki się pozarywają. Dalej zamiast dwóch większych łuków nad oknami nawowemi od strony północnej i jednego takiegoż łuku od strony południowej widać teraz pomiędzy filarami otwory okien z góry rozwarte. Czyżby te łuki w przeciągu lat 4 same zapaść się miały, czy też je może przy zacementowaniu murów z wierzchu, jako grożące zawaleniem się, z umysłu wyjęto?

Pozwolilibyśmy sobie zwrócić Inowrocławianom uwagę także na dwa drzewa od strony południowej za blisko przy ruinie stojące, które jej fundamenta korzeniami swemi zapewne podminowują. Owego znaczniejszego pęknięcia na tej stronie, z ktorem w związku będzie zarwanie się najbliższego łuku nad oknem nawowem, nie pamiętamy z dawniejszego czasu; ta zaś część ruiny jest o tyle charakterystyczna, iż w niej się zachowało wprawdzie zamurowane — ale jedyne pierwotne okno romańskie w swych zarysach. Mojem zdaniem dobrzeby było te dwa drzewka szkodzić mogące ruinie, a należące jak się zdaje do grobów już zapomnianych, wyrudować.

Drzwi żelazne kratowane są wprawdzie w wejściach do wnętrza ruiny powprawiane, ale jedne z nich stały otworem i kontroli nad niemi nie widzieliśmy żadnej. Krótko przed naszemi odwiedzinami, jakto po śladach widzieliśmy, ćwiczyli się młodzi Wandale w rzucaniu cegłami do owych tylokrotnie opisywanych, w granicie wypukło powykuwanych twarzy ludzkich na stronie północnej. Takie zostawienie drzwi otworem łatwo do większego zniszczenia ruiny i do nadużyć jeszcze gorszych prowadzić może, o których nam przed 4 laty opowiadano rzeczy nie do uwierzenia. Lepiejby było ruinę ze wszech stron zamykać, aby zwłaszcza letnią porą w swych kryjówkach nie dawała nocnego przytułku włóczęgom. Kto zaś z obcych będzie ciekaw jej wnętrza, ten o klucz u sąsiadów lub na niedalekiem probostwie może się dopytać.

Wogóle wrażenie, jakie po tych odwiedzinach ruiny wynieśliśmy było o tyle smutne, że gdyby ten najstarszy zabytek z naszej przeszłości miał rzeczywiście pozostać tylko ruiną, to jeśli zniszczenie jej — mimo poczynionych przez rząd królewski zabezpieczeń — tak dalej, jak przez te ostatnie 4 lata, postępować będzie, ruina wpływom naszego klimatu zbyt długo się nie ostoi. Czyż ta ruina ze swemi na północnej stronie sterczącemi filarami nie przypomina biednej wdowy — teraz w nędzy, która lepsze zaznała czasy, — wyciągającej ku niebu ramiona? Czyż nikt ze swoich nad nią się nie zmiłuje? nikt nie wspomoże? Czyż to wyrzutem sumienia nie będzie dla Inowrocławian i bogatych Kujaw, że tak cennej pamiątce z naszej przeszłości upaść i zrujnować się pozwolą? Mojem zdaniem, choć chwilowo u rządu przeważa ten kierunek, aby starożytne zabytki o ile możności starannie zachowywać, nikt ręczyć nie może, że te zapatrywania, może wskutek gorszego stanu finansowego państwa, się nie zmienią, a wtenczas ruina niezawodnie szybciej do upadku się pochyli, jeżeli od nas samych nie dozna opieki. Po tem, cośmy w tej materyi powiedzieli, sądzimy, że staraliśmy się dosyć wzbudzić zajęcia ogólnego dla tak cennego zabytku z naszej przeszłości: w jaki sposób tę ruinę od zagłady uchronić, to już pozostawić należy obywatelom miejscowym.

Zanim zakończymy, chcielibyśmy zwrócić uwagę czytelników i na to, że rówieśnica inowrocławskiej ruiny, kolegiata w Kruświcy aż do r. 1859 także była bardzo spustoszona i groziła ruiną, a jednak głównie z amatorstwa dla starożytności Fryderyka Wilhelma IV z gruzów się podniosła i została (choć nie wzorowo) odrestaurowaną. Znaleźliśmy wszakże w „Baugewerkszeitung“ (1890 r.) jeszcze charakterystyczniejszy opis rekonstrukcyi ruin sławnego gniazda Welfów, zamku Dankwarderode w Brunświku, zbudowanego przez Henryka Lwa. Ileż tam trudności, przeciwieństw i przesądów, wygłaszanych przez filistrów, bogatych patry-

---

dzmi, lecz drogo taksowanym towarem z własnego sklepu.

Żona Nikity, Marta, słynna niegdyś z gładkiego liczka, prowadziła gospodarstwo przy pomocy wyrostka syna i dwóch dziewcząt służących. Nie życzyła ona sobie powrotu Nikity do domu po pierwsze dla tego, że od lat dwudziestu w bliskich pozostawała stosunkach z bednarzem, chłopem z sąsiedniej wsi, a powtóre, że jakkolwiek traktowała męża ze wzgardliwem lekceważeniem wówczas, gdy był trzeźwy, bała się go jak ognia, gdy miał w głowie. Pewnego razu naprzykład, Nikita, będąc pijany, rozbił — jakby dla powetowania wiecznej swej uległości w stanie trzeźwym — skrzynię żony, wydostał najcenniejsze stroje i na kapustę porąbał siekierą na pniu wszystkie jej suknie i sarafany. Pensyę Nikity pobierała w całości — za jego przyzwoleniem — żona. Oto i teraz na dni parę przed świętem, Marta była u Brechunowa, wzięła u niego mąki w lepszym gatunku, herbaty, cukru, wódki, co wszystko razem wyniosło wartość trzech rubli, a nadto 5 rubli gotówką i dziękowała mu, jakby za szczególniejszą łaskę, chociaż obliczając jak najtaniej, Brechunow winien jej był rubli dwadzieścia.

— Albożto zawieraliśmy ze sobą jakie umowy? — mówił Brechunow do Nikity. — Trzeba ci, bierz, a potem odsłużysz. U mnie nie tak, jak u innych: czekaj, aż ci obliczą i kary potrącą. Ja się kieruję sumieniem. Służysz ty mnie, więc i ja pamiętam o tobie. Potrzeba jaka ciebie przyciśnie, do mnie się zwróć jak w dym. I mówiąc to Brechunow sam był najgłębiej przekonany, że jest dobroczyńcą Nikity, tak wymownie umiał dowodzić i tak wszyscy, nie wyłączając Nikity, utwierdzali go w tem przekonaniu.

— Prawda wasza Bazyli Andrzejewiczu, służę, jak mogę, pracuję niby dla rodzonego ojca, rozumiem, bardzo dobrze rozumiem — odpowiadał Nikita, bardzo dobrze rozumiejąc, że Brechunow oszukiwał go, ale zeznając zarazem, że niepodobieństwem byłoby kusić się o uregulowanie z nim rachunków, że jednak musi służyć u niego, nim inne znajdzie miejsce i brać, co się da wziąć.

I teraz, gdy gospodarz kazał mu zaprzęgać, Nikita, wesoły i chętny, jak zawsze, pobiegł, stawiając nogi na sposób gęsi, rzeźkim i lekkim krokiem do wozowni, zdjął z gwoździa ciężką uzdę rzemienną, zakończoną kwastem i pobrzękując żelaziwem wędzidła, skierował się w stronę zamkniętego chlewa, gdzie stał w odosobnieniu od innych, koń, którym miał jechać Brechunow.

— Ha, znudziłeś się, znudziłeś, ty, pieszczochu? — mówił Nikita w odpowiedzi na ciche rżenie, jakiem go witał średniej miary, ładny, cokolwiek przysadzisty, gniady ogier, który sam tylko znajdował się w owym chlewie. — No, no, nie rwij się, głuptasku, wpierw napoić się jeszcze trzeba — ciągnął dalej Nikita takim tonem, jakim się przemawia do istot, rozumiejących ludzką mowę i strzepnąwszy połą ubrania kurz z zaokrąglonego, z wyżłobieniem po środku grzbietu konia, włożył na zgrabną, młodą jego głowę uździenicę, wysunął z pod niej uszy, przygładził grzywkę na łbie i ściągnąwszy cugle, poprowadził poić. Ostrożnie stąpał gniadosz po grubej warstwie nawozu, wyścielającej chlew i na dworze dopiero ruszył z fantazyą w podskokach i wierzgnął, udając, że chce kopnąć tylną nogą biegnącego obok Nikitę.

— Figle, figle ci w głowie, łotrze jeden! — śmiał się Nikita, który wiedział, jak ostrożnie wyrzucał nogą gniadosz, aby nie uderzyć, lecz z lekka tylko dotknąć krótkiego jego kożuszka i bardzo lubił jego fortele.

Po napiciu się zimnej wody koń stał przez chwilę nieruchomie, potem wciągnął głęboko powietrze, poruszył twardemi, wilgotnemi wargami, z których woda, spływając po wąsach przejrzystemi kroplami kapała w koryto — i parsknął.

— Nie chcesz, to sobie i nie pij, dobrze, że o tem wiem; ale później nie napieraj się, pamiętaj! — mówił Nikita całkiem poważnie wyczerpująco tłomacząc gniadoszowi swoje względem niego zachowanie się i wnet pobiegł z nim razem ku wozowni, szarpiąc za cugle młodego

cyuszów i głośnych demokratów trzeba było zwalczać i odpierać, żeby zainteresowanie w kołach miarodawczych dla tej perły sztuki romańskiej obudzić! Ani ostatni z panujących Welfów, ostatni książe bruńswicki, ani sejm tamtejszy na ten cel pieniędzy przyzwolić nie chcieli, zarząd miejski żądał częściowego usunięcia ruiny dla ułatwienia komunikacyi, a największy poklask większości znalazł plan jakiegoś profesora architektury, który pozostałe resztki chciał zamienić na malowniczą ruinę. Szczęściem, że dla zbyt sprzecznych zdań ministeryum nie pozwoliło na tykanie ruiny. Sytuacya rozjaśniła się dopiero, gdy wstąpił na tron bruńswicki jako rejent książę Albrecht pruski, który za poradą architektów zabrał się stanowczo do restauracyi siedliska Welfów i do dawnej je znowu podniósł świetności...

Oby i dla ruiny inowrocławskiej jeszcze jaśniejsze czasy nastały.

Poznań 10. 4. 95. *J. Rakowicz.*



Słowo prawdy.

(Odpowiedź „Kur. Poznańskiemu" i ks. Laubitzowi).

> Es ist ehrenvoll von der Dummheit gehasst zu werden;
> Es ist beneidenswert von der Gemeinheit gehasst zu werden.
> Ludwig Feuerbach.

Jest pewien rodzaj polemiki dziennikarskiej, w obec której ten tylko znajdzie skuteczną odpowiedź, kto wprzódy zniży się do błotnistego poziomu przeciwników swoich. Pastwi się tą kategorya bandytów gazeciarskich mianowicie nad tymi, którzy z góry gwarantują jej, do czasu przynajmniej, przywilej bezkarności, bo zanadto cenią czystość rąk własnych, aby je w błocie zanurzyć. Tłum równomyślnych czytelników wyje z radości nad menażeryjnem widowiskiem, — pisma przyzwoitsze, lecz nie sympatyzujące z przedmiotem napaści ulicznej, uśmiechają się w dyplomatycznem milczeniu, a garść szlachetniejszych ludzi głosi swój protest, żal i potępienie w zamkniętem kółku jedynie, z obawy przed pałką opryszków. I tak się panoszy ta zgraja „rzeźników pióra" jak bohaterzy włoskich Abruzzów, — rozzuchwaleni tchórzostwem społeczeństwa i moralną ruiną stróżów publicznego porządku.

Reprezentantem tego rodzaju rzemiosła na poznańskim gruncie jest — nie do uwierzenia! — organ duchowieństwa, mianujący się najwierniejszym sługą Chrystusa i najsumienniejszym stróżem religii: „Kuryer Poznański". Gdyby ktoś podjął się niewdzięcznej pracy zgromadzenia wszystkich gatunków broni, jakiemi od lat kilku dziennik ten wojuje, możnaby z tego utworzyć wspaniałe archiwum, z znamiennym napisem: „Dzieciom wstęp wzbroniony". Bojkot, oszczerstwo, paszkwil, insynuacya i lepkie, obrzydliwe wyzwiska, — oto tytuły pojedyńczych ksiąg i foljantów tego gabinetu poznańskiej kultury. A nad drzwiami błyszczy krzyż Chrystusowy i powiewa sztandar o papiezkich barwach!

Nienawiść „Kur. Pozn." do pewnych grup i jednostek politycznych przerodziła się w jakąś manję dziką, zagłuszającą najelementarniejsze postulaty szlachetności, taktu i parlamentaryzmu, — artykuły jego to niekiedy orgja szalona.—jakieś rozbestwienie, gdzie człowiek milczy, zwierzę tylko mówi, — jakaś histerya, przerażająca się w szał na dźwięk pewnych nazwisk i haseł społecznych. Gdy przeciwnik błyśnie mu w oczy floretem, on chwyta widły i zapieniony rzuca się na wroga.

Od pewnego czasu ulubionym przedmiotem Kuryerowych napaści stało się moje nazwisko. Oprócz różnic społecznych i politycznych, które nas dzielą, odgrywa tu pierwszorzędną rolę jeden fakt prywatnej natury, którego powtórnie przed trybuną opinii publicznej prezentować nie będę, — dość, że w „Kur. Pozn." nie walczy ze mną polityk broniący chorągwi swojej, lecz mści się człowiek, którego moralne próchno zdemaskować musiałem.

Ogólnikowe to wyjaśnienie winien jestem publiczności, aby odsłonić źródła tej furyi chorobliwej, z jaką w ostatnich czasach każdy mój występ publiczny wita organ klerykalny, i w świetle pełnem pokazać *całych* ludzi, z którymi jako szermierz „Przeglądu Pozn." potykać się muszę. W polemikach moich z legionem Kuryerowych „rycerzy" nie posługiwałem się nigdy bronią rzezimieszków, — nie operowałem nigdy w cieniach nocy i nigdy damasceńskiej szpady nie zamieniałem na nóż, pałkę lub kamień. I tak do dnia dzisiejszego toczyła się walka nierówna: ja nie chciałem się zniżyć do poziomu przeciwników moich, oni, przywykli do błota swojego, żyć nie umieli w innej atmosferze. Zuchwalsi z dnia na dzień zerwali wreszcie wszystkie hamulce i tem samem stracili prawo do jakiejkolwiek z mej strony względności. Proszę się zatem nie dziwić słowom moim. *Tu l'as voulu George Dandin!*

Zanim scharakteryzuję ostatni artykuł *ks. Laubitza*, zamieszczony w „Kur. Pozn.", cofnąć się muszę kilka tygodni wstecz i przedstawić czytelnikom dwie kartki z archiwum lojalnego organu: „Paszkwil i oszczerstwo".

W dzień premiery ostatniego z dramatów moich na poznańskiej scenie wydała oficyna Kuryerowa bezimienny pamflet w błogiej nadziei, że garścią żółciowych insynuacyi i płytką karykaturą feljetonów moich zabije w oczach publiczności autora i sparaliżuje wrażenie utworu. Broń zawiodła paszkwilantów, — błoto nie imało się upatrzonej ofiary. Wtedy postanowiono chwycić się radykalniejszego środka. I oto wysyłają *najbliższe gwardye* Kuryerowe do warszawskiego „Słowa" (Nr. 44) korespondencyę, w której, po kilku mdłych komplementach dla mojej literackiej działalności, autor roni łzę chrześcijańską nad zbłąkanym talentem i z westchnieniem oświadcza, że niestety pióro swoje oddałem na usługi spółki H. K. T. i otrzymałem za to Judaszowe srebrniki. Dla ścisłości dodać muszę, że klerykalne „Słowo" powołane bardzo energicznie do porządku przez redakcyę „Przeglądu Tygodniowego" i zniewolone listem w sprawie tej przezemnie wystósowanym, odwołało publicznie na pierwszej stronnicy nikczemne oszczerstwo.

Zawiodła zatem po raz drugi broń Kuryerowa, — ale apeluję niniejszem do opinii publicznej i zapytuję, jakiem mianem zaszczycić brudną robotę tych, którzy z słowami „Za kościół i wiarę" na ustach, wzorem najgorszych bandytów dziennikarskich obdzierają z czci ludzi uczciwych. Opryszek zakupujący mszę na intencyę mordu, skrytobójca uświęcający sztylet dotknięciem relikwii, ulicznica odmawiająca „Ave Maria" w antraktach grzesznej pieszczoty — to podobizny Kuryerowych rycerzy.

Po dwóch bezskutecznych napaściach umoczył organ duchowieństwa po raz trzeci pióro swoje w błocie i oto ukazały się dwa artykuły: „Z miasta" i „Same ruiny." Pierwszy z tych fabrykatów poddałem chemicznej analizie w ubiegłym numerze i przekonawszy się o cudownych właściwościach Kuryerowej mikstury, zaleciłem ją jako emetyk w czasie świąt Wielkanocnych. Drugi, którego autorem jest ks. wikary *Laubitz* z Inowracławia, prezentuję dzisiaj czytelnikom „Przeglądu", a uprzedzam z góry, że artykuł ten ogłosił k a p ł a n k a t o l i c k i w wilją C h r y s t u s o w e g o Z m a r t w y c h w s t a n i a, gdy lud modlił się nad świętemi grobami i drżącemi usty całował rany „Ukrzyżowanego." I oto wśród jękliwej melodyi dzwonów i rozdzierającej nuty „Gorzkich

---

wesołego konia, który wierzgał, stawał dęba i rżał donośnie.

Z parobków nie było nikogo, w domu jeden tylko i to obcy, znajdował się mężczyzna, mąż kucharki, który przyszedł w święto żonę odwiedzić.

— Pójdź, zapytaj, bracie — zwrócił się doń Nikita — do jakich sani, rozłożystych czy masiuteńkich mam zaprzęgać.

Mąż kucharki wrócił z oznajmieniem, że gospodarz kazał wziąść małe sanie. Nikita tymczasem ubrał konia w chomąt, podwiązał nabijane guzikami siodło i niosąc w jednej ręce lekką, malowaną duhę, a drugą prowadząc konia, zbliżył się do dwóch par sanek, pod wozownią stojących. — Kiedy do masiupeńkich, to niech będzie do masiupeńkich, mruczał, wprowadzając między hołoble*) inteligentne zwierzę, które teraz wciąż udawało, że chce go ugryźć i zaczął przy pomocy męża kucharki zaprzęgać.

Kiedy już robota była niemal skończona i tylko lejce należało zarzucić, Nikita posłał męża kucharki do wozowni po słomę, a do spichlerza po derkę.

*) Hołoble, po rosyjsku ohłoble, zastępują w zaprzęgu rosyjskim, rozpowszechnionym na Litwie, dyszel. Duha, po rosyjsku duga, wyrobiona z drzewa, ma kształt silnie naciągniętego łuku i piętrząc się nad karkiem konia łączy hołoble, do których jej końce przymocowują się silnie rzemieniami. (Przyp. tłum.)

— Teraz dobrze będzie. No, no, nie zjeżaj się tak! — mówił Nikita, układając w saniach słomę ze świeżo wymłoconego owsa, przykryję cię zaraz płótnem zgrzebnem, a z wierzchu derką. Ot tak, teraz wygodnie będzie siedzieć — ciągnął dalej, łącząc czyn ze słowami i podsuwając ze wszystkich stron pod siedzenie brzegi derki.

— Dziękuję ci bracie! — zawołał do męża kucharki — we dwóch każda robota żwawiej idzie. — I ujmując w garść lejce, o złączonych kółkiem końcach, przysiadł na kozieł i skierował rwącego się do biegu, dobrego konia po zmarzłym nawozie podwórza ku wrotom.

— Stryjku, hej stryjku! — zawołał za nim, wypadając pośpiesznie z głośnem szczęknięciem klamki, z sieni na podwórze siedmioletni chłopak, ubrany w czarny, krótki kożuszek, nowe białe walonki*) i watowaną czapkę. — Weź mnie ze sobą do sanek! — prosiło dziecko cienkim głosikiem, zapinając w biegu kożuszek.

— No, no, spiesz się, sokoliku — odparł Nikita i zatrzymując konia, dopomógł wsiąść promieniejącemu radością synkowi gospodarza, poczem wyjechał na drogę.

*) Powszechnie używane w Rosyi ciepłe, o krótszych lub dłuższych cholewach obuwie, wyrabiane ze specyalnego gatunku, grubego filcu, białej, szarej lub ciemno-brązowej barwy. (Przyp. tł.)

Dochodziła trzecia godzina popołudniu. Powietrze było chłodne — koło 10 mniej więcej stopni mrozu — pochmurne i wietrzne. W podwórzu wydawało się zacisznie, ale na ulicy dął silny wiatr, zmiatając śnieg z dachu sąsiedniej wozowni, a na rogu koło łaźni kręcąc białe tumany.

Zaledwie Nikita wysunął się z podwórza i skręcił pod dom, gdy Bazyli Brechunow z papierosem w ustach, w powleczonym kożuchu baranim, nisko a mocno owinięty pasem, wyszedł z sieni na skrzypiący pod jego walonkami deptanym śniegiem ganek, gdzie przystanął, zasuwając brzegi kołnierza z obu stron rumianej, ogolonej — z wyjątkiem wąsów — twarzy, aby włosie nie wilgotniało od oddechu.

— Patrzcie go, tego smarkacza, co wszędzie wścibić się musi! — zauważył Brechunow, dostrzegłszy siedzącego w saniach synka — i błysnął w uśmiechu białemi zębami. Wódka, którą pił z gośćmi, wprawiła go w stan podniecenia i ztąd czuł się bardziej niż kiedy zadowolony z siebie i ze wszystkiego, co było jego własnością. Otulona wełnianą chustką, która okrywała jej plecy i głowę tak szczelnie, że tylko oczy można było z pod niej dojrzeć, blada i chuda żona Brechunowa wyszła go żegnać i teraz stała tuż za nim w sieniach.

— Wziąłbyś przynajmniej Nikitę ze sobą

żalów“ odzywa się nagle wikary inowrocławski w odpowiedzi na mój przedostatni feljeton, dotyczący ruiny kościoła N. P. Maryi. Czytelnicy „Przeglądu“ znają tę sprawę. Chodziło o restauracyę cennego zabytku architektury romańskiej i o niesłychany beztakt ks. Laubitza, miotającego nizkie insynuacye osobistych interesów na przeciwników wandalizmu prowincyonalnego i broniącego z najwyższą efronteryą zasady, że w sprawach architektury kościelnej „głos w pierwszej linii i głos decydujący“ ma zawsze ksiądz, nigdy architekt. Krytyka moja, nie przekraczająca w żadnym ustępie granic parlamentaryzmu, tak zdenerwowała inowrocławskiego estetyka, że pocałowawszy w rękę gospodynią swoję, poprosił ją o kilka kwiatów kuchennej elegancyi i związawszy je tłustym sznurkiem szynek wielkanocnych zawieszonych w wędzarni, wysłał pod firmą „Same ruiny“ do redakcyi „Kuryera Poznańskiego.“ Proszę posłuchać, jak wytworny ks. Laubitz, „który lata całe oddawał się studyom architektury i liczne i dalekie w tym celu odbywał podróże“ (?!) i który przypomina przy tej okazyi, „że już osiem lat jest wikaryuszem“ i „na tem podrzędnem stanowisku z korzyścią dla ludu i ku zadowoleniu władz pracuje“ — odzywa się do przeciwnika swojego:

„Jesteś jak owe zwierzątka, które, gdy są w niebezpieczeństwie życia, wstręt przeciwnikowi czynią, otaczając się atmosferą woni, której oprócz nich nikt inny nie znosi.“

„Jesteś przylądowym (?) sykofantą.“

„Pan Rabski jest grubo wkiwnięty.“

„Jeszcze pan się z kilku akcyonaryuszami skaramboluj, a pójdziesz w duraki.“

„Zbitego i schwaconego Pegaza trzeba żywić wytłokami buraczanemi. Zrobić pegazowi szmaus na święta. Słusznie mu się taki Kraftfutter należy. Gdy się trochę wypasie może mu i dowcipu przybędzie.“

Sądzę, że to wystarczy. Dziś ks. Laubitz stracił prawo do jakiejkolwiek z mej strony względności i traktuję go po prostu tak jak się traktuje ulicznika, rzucającego mierzwą na przechodniów. W zapadłych kątach Królestwa polskiego spotkałem raz starego proboszcza schłopiałego do szczętu i przemawiającego w ten sposób z ambony do parafian swoich: „Mówiłem wam, byście mi przynieśli na odpust drobiu, jaj i masła, ale proste bydle jest poczciwsze od was. Lepsza świnia, bo z niej mam przynajmniej szynki i kiełbasy“. —

Wytworny ksiądz Laubitz stoi w moich oczach na równym poziomie z tym schłopiałym starcem, tylko z tą różnicą, że z tamtego życie i otoczenie wypruło artystyczne pierwiastki duszy, a u ks. Laubitza inteligencya i artyzm jest marnym pokostem, który ani jednej chwili nie zdusił brutalnej natury. I tamten siwy staruszek mimo całej swojej „schłopiałości“ był człowiekiem, dla którego kłamstwo i oszczerstwo było zbrodnią, — ks. Laubitz natomiast posiada dwa katechizmy: Katechizm Chrystusowy — to maska, katechizm fałszu i kalumnii — to czyn.

Za ilustracyą tej taktyki niechaj posłuży przykład następujący: Przypominają sobie czytelnicy proces Tarnopolski, — smutną historyę seminarzystów i gimnazyastów, oskarżonych o zdradę stanu za dziecinne wybryki nieco jaskrawszego patryotyzmu i zakładanie tajnych kółek, w których uczono się historyi polskiej i czytano pisma demokratyczne. „Dziennik Kujawski“ — stojący pod protektoratem ks. Laubitza starał się przed zapadnięciem wyroku wpłynąć na sędziów przysięgłych, piętnując młodzież uwięzioną i solidaryzując się namiętnie z prokuratorem austryackim. Wtedy to zaprotestowałem przeciw takiemu postępowaniu, przypominając ks. Laubitzowi, że każdy z nas miał swoją „Sturm i Drangperiode“, a gdyby porywy gimnazyalnego radykalizmu zawierały zdradę stanu, to i protektorzy „Dziennika Kujawskiego“, — cała ta generacya, do której ks. Laubitz i ja, uczeń jego ówczesnych teoryi należałem, paść powinni ofiarą kodeksu karnego. Bo każdy z nas „konspirował“ po trochu, zakładając kółka i lubując się w efektownych hasłach.

W obec tej uczciwej obrony uwięzionej, a później werdyktem sądu przysięgłych jednogłośnie uwolnionej młodzieży, taką obecnie ks. Laubitz ogłasza replikę:

„Zamieścił p. Rabski w swoim „Przeglądzie“ szlachetną denuncyacyą na osobę piszącą z wymienieniem nazwiska, — denuncyacyą niczem nieprowokowaną, niczem nie uzasadnioną; wzywał prokuratora na wytoczenie piszącemu procesu za — zbrodnią, że w gimnazyum uczył się — historyi polskiej.

„Czyż was panowie, którzy stoicie za „Przeglądem“, a częściowo współwinowajcami jesteście obżałowanego — rumieniec wstydu nie spali? — Czy ma honor ten, który cudzego honoru — choćby obrażony był tylko corpus vile — księdzem — uszanować nie potrafi? Dotąd piszący satysfakcyi żadnej od przylądowego(?) sykofanty nie odebrał.“

Chcesz satysfakcyi mości wikary? Owszem! Posłuchaj:

„Fałszować tendencyjnie opinje przeciwnika swojego i mianować denuncyantem uczciwego obrońcę niewinnie uwięzionej młodzieży — to postępek niegodny człowieka honoru, to plama, która tem jaskrawiej odbija na tle kapłaństwa, — na białej komży sługi Kościoła. — Oto jedyna satysfakcya, który „przylądowy sykofanta“ tobie, mości wikary, ofiarować może.

A ten fałsz, krzyczący, który piętnuję słowem najgłębszej pogardy, jest sygnaturą całego artykułu ks. Laubitza. Pobity na wszystkich punktach chwyta się inowrocławski wikary rozmyślnego kłamstwa jako ostatniej deski ratunku. Jest to broń desperata, który licząc nie bez pewnej słuszności na to, że większość czytelników „Kuryera“ nie czytuje artykułów „Przeglądu“, podsuwa przeciwnikom swoim twierdzenia łatwe do protestu, lecz nie istniejące w żadnym z artykułów naszych. Ksiądz Laubitz walczy przeciw własnym fikcyom i siadłszy na ruinach krzyczy z Kserksesową pychą: Zabiłem „Przegląd Poznański“. Któż to z nas, mości wikary, powiedział, że w kwestyach sztuki tylko fachowemu artyście głos zabierać wolno? My nikomu, nawet kujawskiemu mędrcowi, nie odmawiamy prawa dyskusyi, a walczymy jedynie przeciw twierdzeniu, że w kwestyach architektury kościelnej nie architekt, lecz ksiądz „ma głos decydujący“. I nie mamy nic przeciw temu, mości wikary, byś z czytelnikami „Kuryera“ dzielił się produktami artystycznego dyletantyzmu, ale protestować musimy przeciw tej pysze niedorostków umysłowych, która program fachowego architekta, złożony w krótkim i ogólnikowym artykule, nie znając jego szkicówi dalszych pomysłów wcielenia, uznaje z góry za „niewykonalny“ i artystycznie chybiony. Ks. Laubitz powołując się z dumą na swoje półtoraroczne studya architektoniczne robi wrażenie młodego studenta medycyny, który poznawszy zaledwie budowę ciała ludzkiego, rozprawia dumnie o terapii raka lub tabes dorsalis.

Niech sobie wikary inowrocławski deklamuje o pięknościach romańskiego tumu w Bambergu i Moguncyi, o czystej gotyce paryzkiego „Notredame“ lub nieskażonym renesansie „Palazzo Strozzi“, — jeżeli w swoich „licznych i dalekich podróżach“(?) potrącił o te zabytki sztuki i posiada dość artyzmu by piękność ich odczuwać i pojąć stylowość, — ale w rozwiązaniu zadań architektonicznych, — w sprawie trudnego połączenia starych ruin z nową świątynią „decydującą“ kompetencyę przyznajemy jedynie fachowemu architektowi.

Dyrektywa lajków w tworzeniu przedmiotów sztuki wydaje często przedziwne owoce.

— mówiła kobieta, wysuwając się nieśmiało z po za drzwi.

Brechunow splunął zamiast odpowiedzi.

— Wszak z pieniądzmi pojedziesz — nalegała dalej żona żałośnym tonem — i pogoda niepewna. Weź Nikitę, proszę cię!

— A cóż to, może drogi nie znam, abym przewodnika potrzebował? — odparł Brechunow z właściwem sobie wydęciem ust, z jakiem przemawiał, zawierając układy o kupno lub sprzedaż i rozkoszując się widocznie dźwiękiem własnych słów.

— Weź, na Boga cię zaklinam, weź!

— Eh, przyczepiła się baba, jak liść czepia się w łaźni spoconego ciała!

— Co do mnie, gospodarzu, chętnie pojadę z wami — wmięszał się z uprzejmym uśmiechem Nikita, — byle tylko o koniach tu pamiętano, nim wrócimy — dodał, zwracając się do gospodyni.

— Sama dopilnuję, aby je nakarmiono — zapewniła gospodyni — Semena poszlę.

— Więc jakże będzie: mam jechać, czy zostać? — pytał Nikita.

— Wypadnie chyba usłuchać starej. Pójdźże ubrać się cieplej, jeżeli masz jechać — odparł Brechunow, uśmiechając się znowu i mruganiem oka, wskazując na rozpruty pod pachami i na plecach, u dołu wystrzępiony w frenzle, brudny i wymięty kożuch Nikity, który przechodził najrozmaitsze koleje losu.

— Hej, bracie, bywaj tu konia przytrzymać! — zawołał Nikita na męża kucharki, zwracając się w stronę podwórza.

— Ja sam, ja! — zawołało dziecko, wyjmując z kieszeni zziębnięte, zaczerwienione rączęta i uchwyciło pospiesznie namarzłe skórzane lejce.

— A nie gmeraj się tam, zbytecznie strojąc się w godowe szaty, żwawiej! — zawołał Brechunow, wyszczerzając do Nikity zęby.

— W mgnieniu oka gotów będę gospodarzu! — odparł Nikita i szybko migając staremi skórą obszytemi walonkami, wbiegł na podwórze, a z tamtąd do izby czeladniej.

— Dalej Ireno, kaftan mi z pieca ściągnij, bo z gospodarzem jadę — mówił, wpadając do izby i sięgając po pas, zawieszony na kołku.

Kucharka, która po drzemce poobiedniej nastawiała samowar dla męża, spotkała Nikitę z wesołą twarzą i porwana jego pośpiechem zakręciła się po izbie równie szybko, jak on: wydostała lichy, wytarty jego kaftan, który suszył się na piecu, wytrzepywała go z kurzu, wygładzała ręką.

— To dopiero nacieszyć się będziesz mogła do syta z twoim! — zauważył zwracając się do kucharki Nikita, który przez szczerą dla ludzi życzliwość starał się zawsze zawiązać rozmowę, gdy zostawał z kim sam na sam, poczem zarzucił na kożuszek wąski, znoszony pas, wciągnął głębiej jeszcze i tak zapadły brzuch i mocno się ściśnął.

— Dobrze, tak — mówił Nikita, zwracając się już nie do kucharki, ale do pasa, którego końce starannie zasuwał — teraz nie rozwiążesz mi się z pewnością — i podniósłszy kilkakrotnie ramiona, aby ręce mogły się swobodnie w rękawach poruszać, wdział kaftan, podciągnął go na plecach, w pachach, aby nie być krępowanym w ruchach i sięgnął na półkę po rękawice.

— No, teraz już całkiem gotów jestem.

— A butów innych nie weźmiesz? — zapytała kucharka — te zgoła kiepskie.

Nikita przystanął, jak gdyby teraz sobie przypomniał.

— Dobrzeby było... ale zresztą, obejdę się i bez nich, niedaleka droga!

— I wybiegł na podwórze.

— A nie będzie ci zimno, przyjacielu? — zapytała gospodyni, gdy parobek zbliżył się do sani.

— Zimno! ale gdzież tam! — odparł Nikita, układając słomę w ten sposób, aby wsunąć pod nią nogi i chowając bat, jako zgoła niepotrzebny na dobrego konia.

Brechunow siedział już w saniach, wypełniając niemal szczelnie tylną, wygiętą ich część osobą swoją, ubraną w dwa futra i natychmiast ruszył z miejsca. Nikita wskoczył do biegnących już sanek, przysiadł się z lewej strony i spuścił jedną nogę na zewnątrz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wspomniałem już w jednym z dawniejszych artykułów głośną restauracyę stal w krakowskim kościele P. Maryi, wykonaną według recepty kapłana — dyletanta, a dziś opowiem ks. Laubitzowi ciekawą anegdotkę z helleńskich czasów.

Fidyasz czy Praksyteles, — nie pomnę dokładnie nazwiska, — wystawił szkic posągu modelowany w glinie i zasięgał zdania swych współobywateli. Przychodzili różni dyletanci z artystycznych Aten i uznali szkic za chybiony doszczętnie, łącząc z krytyką przyjacielskie rady. Mistrz stosownie do wskazówek poprawiał swe dzieło, a po pewnym czasie sprosił znów współziomków i odsłonił wykończony posąg. Zaledwie spadła zasłona, rozległ się przerażony okrzyk tłumu: „Potwór! straszydło“. W tej samej chwili artysta zerwał drugą zasłonę, a widzowie uklękli w zachwycie przed nowem arcydziełem.

— Ten pierwszy — rzekł Fidyasz to posąg wykonany według waszych wskazówek, — ten drugi to moje własne dzieło, wcielenie pierwotnego szkicu!

Greccy dyletanci — którym przecież muzy czulej nad kolebką śpiewały niż kujawskim wikaryuszom — nie odgadli w szkicu arcydzieła i rzucili nań kamieniem potępienia, — ks. Laubitz jednak poczuwa się do kompetencyi wydawania sądu o projekcie architektonicznym, którego nawet w szkicu nie oglądał, bo profesor Rakowicz ogłosił zaledwie myśli programowe w sprawie rozbudowania ruiny.

To też bądźmy szczerzy, mości wikary. Ty sam nie wierzysz w opinję swoje, a pragniesz jedynie dla tego zabić projekt p. Rakowicza, aby nowy kościół stanął w najkrótszym czasie bez względu na piękną ruinę — Kopciuszka, skazaną w obecnym stanie prędzej czy później na zupełne zniszczenie. Nie będąc fachowym architektem i nie znając analogicznych przykładów, które na uprawdopodobnienie spornego projektu przytoczono, nie mogę rozstrzygać z pretensyonalną stanowczością, o ile program Prof. R a k o w i c z a jest „wykonalnym“, praktycznym i artystycznie doskonałym, ale gdy przeciw rutynowanemu architektowi występuje lajek, przeciw p r o j e k t o m o p a r t y m n a a n a l o g j a c h z d z i e d z i n y b u d o w n i c t w a gołosłowny protest, to musiałbym być chyba bigotką, dla której każdy ksiądz jest wszechmądrością, aby uchylić czoła przed inowrocławskim wikarym.

Być może, że za taką nauczkę ks. Laubitz po raz wtóry zapożyczy się od kucharki swojej i pośle mnie łaskawie „w duraki“ opowiadając przytem o „woniach pewnych zwierzątek“, „sierdzeniach“, „bizunach“ i „wkiwnięciach“ — a l l r i g h t! to pisze przecież estetyk kujawski, który ludziom jako siódmą prawdę do wierzenia podaje, że kocha piękno i duszę ma artystyczną.

E s t e t y k a i k s. L a u b i t z!

I może znowu nabije kapłan katolicki Kuryerowe armaty kulami oszczerstw, krzycząc na całe gardło: Denuncyant! sykofanta! — a l l r i g h t, to pisze przecież sługa Chrystusowy, stróż chrześciańskiej etyki.

E t y k a i k s. L a u b i t z!

I może raz jeszcze opowie nam mędrzec inowrocławski cudowne legendy o swoich podróżach i głębokich studyach artystycznych, — może nam znowu każe wierzyć na słowo kapłańskie, że w programie pana Rakowicza nie ma ani atomu zdrowego sensu, — może wreszcie powtórnie ciśnie nam w oczy rakietą frazesów i banalnych ogólników śpiewając głosem namaszczonym, że to słońce prawdy roztacza nad światem, — a l l r i g h t, toż to mówi exarchitekt i uczony teolog.

N a u k a i k s. L a u b i t z!

Jestem przygotowany na wszystko, bo przekonały mnie artykuły mędrca-wikaryusza, że kujawskie s o l a n k i nie odstąpiły mu ani szczypty s o l i, ale za to rynsztoki inowrocławskie ofiarowały mu błoto swoje na usługi.

Niechaj korzysta!

Dr. Władysław Rabski.

Wiadomości szlązkie.

I.

Szlązk od czasu jak zawrzała tutaj na dobre walka narodowościowa zwrócił na siebie uwagę nietylko interesowanych w tem Niemców ale i wszystkich Polaków, obserwujących znaki życia narodowego wśród prostego ludu polskiego. Szersze koła publiczności polskiej wprawdzie nie wiedzą jeszcze nic o tej nowo odkrytej ziemi polskiej, i niejedna wielmożna i wiele Jaśnie Wielmożnych znają Szlązk li tylko jako krainę niemiecką. Jest jednakowoż nadzieja, iż się to zmieni w przyszłości na lepsze, gdyż dzienniki i pisma peryodyczne coraz częściej przynoszą nam korespondencye z tej zapomnianej i zaniedbancj ziemi; wydaje się nawet, iż prasa polska z szczególnem upodobaniem zamieszcza wszystkie wiadomości o Szlązku. Niezawodnie opłaciłoby się naszym etnografom, lingwistom i historykom poświęcić czas i siły tej staropolskiej dzielnicy, szlązkiej ziemi, szlązkiemu ludowi, jego obyczajom, jego mowie i jego przeszłości. W miarę jak znawcy i ludzie dobrej woli i prawdziwego wykształcenia wielkie mogliby wyświadczyć przysługi całej Polsce, szczególniej zaś Szlązkowi, usuwając pokłady mgły i ciemności, zalegające ziemię szlązką, tak z drugiej strony mogą płytkie umysły i ludzie powierzchownego wykształcenia, gdy się niepowołaną ręką dotykają sprawy, na wielkie szkody narazić ten „kraj odrodzenia“. Przyznać bowiem trzeba, iż Szlązk ma bardzo zawikłaną przeszłość i pod względem narodowym przechodził w ciągu czasu najrozmaitsze koleje, ulegał różnorodnym wpływom i wskutek tego posiada dziś stosunki niewyraźne i niejasne. Trzeba się w zawikłane sytuacye długo wpatrywać zanim można sobie wyrobić o nich jasne pojęcia, ale rezultatem sumiennych badań będzie zawsze przekonanie, że tam na odwiecznie polskiej ziemi mieszka czysto polski lud, mówiący zupełnie czysto polskim językiem, którego przed nawałem niemczyzny bronić trzeba. Wskutek trudności położenia i splątanych stosunków mamy właśnie na Szlązku bardzo wiele ludzi, którzy, lubo ukończyli wyższe szkoły, z braku wiadomości w historyi, językoznawstwie i etnografii nie mogą pojąć sytuacyi narodowościowych i odmawiają idei polsko-narodowej wszelkiego u nas uprawnienia. Nie ulega wątpliwości, że przedmiotowe, trzeźwe traktowanie rzeczy przez ludzi fachowych przyczyniłoby się do wyrobienia jasnych pojęć i tem samem do umotywowania idei narodowej i do ugruntowania narodowych naszych dążności. W tym względzie potrzebuje bardzo polska inteligencya na Szlązku poparcia z Krakowa lub Poznania, gdyż sama w sobie jest za słabą, liczba jej za szczupłą i warunki życia niekorzystne. Tymczasem o tem dziś mowy nie ma; odczuwamy tylko przypływ innego rodzaju ludzi, którzy idąc za chlebem na Szlązk, czują się powołanymi do spełniania misyi narodowej. Oczywiście nie można jeszcze upatrywać w tem nic złego, gdyby przejęci sami szczerą miłością ojczyzny zaszczepiali ją wśród znajomych lub w towarzystwach, ale skoro przestaną „patrzeć swego kopyta“ i zaczną majaczyć o wpływie na sprawy publiczne wtenczas mimo woli mogą zabagnić stosunki i zatamować prawidłowy rozwój odrodzenia. Skoro zaś sprawa nasza narodowa nabędzie dużo takich niezręcznych przedstawicieli i pionierów wtenczas straci niejednego poważniejszego zastępcę i ucierpi na tem niemało. Na tem miejscu niechaj raczą nasze pisma szczerze polskie przyjąć dobrą radę, aby nie otwierać zbyt szeroko łamów swoich owym za gorąco kąpanym zapaleńcom miotającym ubliżające podejrzenia na pisma trzeźwe w rodzaju „Kuryera Górnoszlązkiego“ (?! Przyp. Red.) Choć bowiem pismo to z innych zupełnie powstało pobudek, to do obozu jego wstąpili ludzie, którym bynajmniej nie można zarzucać braku zrozumienia idei narodowej, albo braku poczucia narodowego. (*Faktem jest, że „Kuryera Górnoszlązkiego“ na to tylko założono, aby sprawę narodową, rozwijającą się w naturalnym, najprostszym kierunku zatrzymać na krętych, niewyraźnych ścieżkach. Czy „nowym siłom“ „Kuryera“ uda się na inne tory go sprowadzić, o tem dopiero przyszłość rozstrzygnie. My na razie sceptycyzmu naszego się nie wyrzekamy. Przyp. Red.*) Przeciwnie będąc Polakami z zasady, ale zapatrując się właśnie poważnie na sprawę polską chcieli się wydobyć z towarzystwa niedorostków duchowych, którzy w swej zuchwałości postąpili tak daleko, że chcieli kierować sprawami publicznemi. (*Z jakiego towarzystwa? Przecież chodziło jedynie o polskich kandydatów przy wyborach i z tego tylko powodu nastąpił rozłam i rozdwojenie z polskiemi gazetami. Gdzie Szan. korespondent znalazł owych dominujących „niedorostków duchowych“, tego domyśleć się nie możemy. Wiemy, że wyłącznie pisma polskie kierowały, mianowicie w czasie wyborów, decydująco sprawami publicznemi, i to z najlepszym skutkiem dla żywiołu polskiego, z wyjątkiem wyboru hr. Ballestroema. Przyp. Red.*) Cały rozwój naszego życia narodowego w przyszłości zależy jedynie od tego, jak inteligencya szlązka będzie pojmowała ideę narodową, dla tego koniecznie potrzeba w przekonywający sposób rozumnie do tejże inteligencyi przemawiać i w szerszych jej kołach rozbudzać najprzód zamiłowanie do polskiego języka i literatury, a następnie jej dowieść, iż obowiązkiem każdego wykształconego Szlązaka polskiej narodowości jest staranie się o materyalne i moralne podniesienie ludu polskiego, że moralny rozwój jego idzie ręka w rękę z postępem oświaty narodowej, że poczucie narodowe jest logicznym wynikiem podniesienia poziomu oświaty, że każdy Szlązak musi się przyznać do jakiejś narodowości, albo niemieckiej, albo polskiej, albo też innej, ale absurdem jest, co wielu na seryo śmie twierdzić, jakoby szlązacy nie byli wprawdzie Niemcami, ale też z resztą narodu polskiego nie mieli nic wspólnego.

Ks. Jacek Kamieński.

KRONIKA WIEDENSKA.

Wiedeń, 10 Kwietnia 1895.

Wybory do rady miejskiej. — Ferye Parlamentu i Reforma wyborcza. — Jahres-Austellung w Künstlerhauzie.

Ostatni tydzień, zakończył się fatalną porażką wiedeńskich liberałów, czyli partyi semickiej. Przy wyborach do Rady miejskiej, stracili oni na korzyść antysemitów 16 mandatów, nie zyskawszy ani jednego dla siebie. Partya antysemitów, względnie chrześciańsko-socyalna, zdobywszy tę szesnastkę, występuje dzisiaj, jeżeli nie w większości, to w równej liczbie z rządzącą, i dąży stanowczo do zwyżki, aby wybrać burmistrzem swego przewódcę Luegera, posła na Sejm krajowy, do Rady państwa etc. Początkowo proponowano „koalicyą“ radzców miejskich, którą jednak antysemici stanowczo odrzucili z hasłem: „będziemy czekać!“ Pozycya, w jakiej obecnie znajdują się liberalni, równa się fortecy oblężonej nieprzyjacielem o równej sile i liczbie. Dzień i noc, trzeba jej być na straży, aby niespodziewany odeprzeć atak. Dobrze broniona forteca, może się długi czas ostać, ale w końcu, jak strategiczne uczy doświadczenie, musi uledz, jeżeli nie otrzyma z zewnątrz pomocy. Pierwszy atak antysemitów zwróci się przeciw vice-burmistrzowi Dr. Richterowi, który choć chrześcianin i katolik, ogłosił się w swoim czasie bezwyznaniowym dla zawarcia małżeństwa z żydówką. Od tego czasu jest w objęciach i usługach żydowskiej partyi liberalnej, a człowiek to bardzo zdolny i sympatyczny, w nim też ogromną nadzieję pokładają i bronić go będą do ostateczności. Dzienniki liberalne, nawołują do obrony i radzą zawarcie sojuszu z partyą postępową i „dzikimi, których jest 13stu, a równocześnie radzą, aby wszystkiemi możliwemi sposobami przeszkodzić złączeniu się ich z antysemitami, chociażby nawet, do „materyalnych ustępstw,“ czyli po prostu mówiąc do kupienia tych głosów się posunąć.

W Parlamencie zaczęły się ferye wielkanocne. Odpoczynek czternastodniowy posłów? Po czem? Po tem chyba, że sami o n i c z e m mówili, albo męczyli się, słuchając innych? Re-

forma wyborcza, dotąd nie postąpiła ani kroku dalej. Walki o swoje principia dawno już zaprzestali, — oręż przytępił się i zardzewiał, a koalicya doszła stagnacyi, równającej się grobowej ciszy, bez najlżejszego wietrzyka jakiejś politycznej myśli. Posłowie koalicyjni odpoczywają. Prawdopodobnie nie użyją oni tego czasu, aby zetknąć się ze swoimi wyborcami i dowiedzieć się od nich, jak bardzo są... niekochani? Po Wielkiejnocy zjadą się znowu odświeżeni fizycznie, ale umysłowo w tym samym stanie ospałości co dzisiaj, witając się serdecznie na ławkach swej wielkości i sławy.

W dniu pierwszym feryi, poseł Dipauli, wystąpił z subkomitetu układającego nowe ustawy dla Reformy wyborczej. Narobiło to wrzawy, ponieważ poseł nie mógł publicznie ogłosić powodów swojego wystąpienia, a to dla tego, że subkomitet tajemnicą osłania narady swoje. Dipauli należy do partyi hr. Hohenwarta, i stawiał podobno takie wnioski, które musiałyby w dalszym ciągu obrad doprowadzić do upadku reformy wyborczej i reformy podatkowej. Przypuszczalne bowiem głosowanie za jego wnioskiem, przedstawiałoby taki rezultat: Z baronem Dipauli byłoby 35 konserwatywnych i 1 staroczech, którzy jego wniosek podpisali.

Do nich przyłączyłoby się: 38 Młodeczechów, 5 opozycyjnych Kroatów, 8 Morawian, 17 posłów partyi niemieckiej narodowej, 11 antysemitów, 7. opoz. Słoweńców, 5 „dzikich“ konserwatystów, 1 Rusin (Romańczuk), Pernerstorfer i Kronawetter, 3 innych dzikich, czyli razem 134 głosów. Ponieważ 4 mandaty nie są obsadzone, zostałoby głosów dla większości zaledwie 215, podczas, kiedy potrzebne dwie trzecie, wynosić muszą 233 głosów! Brakuje więc do prawnej większości ośmnaście.

Z tego zestawienia okazuje się aż nadto jasno, że szanse takiej reformy wyborczej, jaką chce stworzyć subkomitet, są rozpaczliwie smutne!...

W dniu 30go Marca, otworzono w obecności cesarza doroczną wystawę sztuki w „Künstlerhausie.“ Przedstawia się ona dość miernie, pomimo bardzo interesujących i dobrych dzieł. Z polskich artystów bierze w niej udział spora garść, bo aż piętnastu. W osobnym fejletonie, otrzymacie zapewne sprawozdanie z ich robót, na razie zaznaczam, że najlepsze prawie prace należą do Polaków. Znakomite portrety dali Horowitz i Pochwalski, obok których stoi na równi artystycznych zalet studyum Olgi Boznańskiej, Szymanowskiego „Modlitwa“ obraz o szerokim zakroju i olbrzymiem płótnie, wzbudza podziw jednostajnością motywu, który jak jeden wielki okrzyk do Boga z całego tłumu figur się wznosi. Obraz ten bardzo źle zawieszony, nie wszystkim się podoba, ponieważ nie wszyscy rozumią sposób modlenia się polskiego wieśniaka. Druga „Modlitwa na stepie“ Brandta, więcej znajduje zwolenników, chociaż recenzenci wytykają zimny ton ogólny i razi ich spokój, jaki nie odpowiada talentowi i dotychczasowym tematom wielkiego malarza. Niezły portret wystawił Augustynowicz, bardzo lichy i słabo malowany Styka, aranżer racławickiej panoramy we Lwowie. Pan Styka niepowinien był pracy swojej posyłać na wystawę wiedeńską, tem więcej, że przedstawia ona portret tak znanego z energii i działalności inicyatora i dyrektora wystawy lwowskiej Marchwickiego.

Doskonałe obrazki prezentują Wierusz-Kowalski, Fałat, Damazy-Kotowski i innych kilku, o których później. Z rzeźbiarzy jeden Lewandowski, obecnie stale mieszkający w Wiedniu, ma na wystawie portretowe biusty: tutejszej uroczej primaballeriny Ireny Sironi, posła hr. Leona Pinińskiego i kolosalnej wielkości hermę z biustem śp. posła Kazimierza Grocholskiego, wykonanym na zamówienie ministerium spraw wewnętrznych. Herma ta zwróciła uwagę cesarza, który chwalił nadzwyczajne podobieństwo i monumentalną robotę, a rozpytując się o artystę, kazał sobie Lewandowskiego przedstawić, winszując mu tej pracy. Biust Grocholskiego będzie ustawiony w hali parlamentu austryackiego, gdzie stwarzają obecnie Walhallę dla najwybitniejszych zmarłych posłów Rady państwa.

W końcu donoszę Wam, że aresztowano tutaj przedwczoraj pewne indywiduum, kradzące po kawiarniach paltoty. Nazwał się ten pan „de Ledóchowski i opowiedział historye o Syberyi, gdzie miał być inżynierem, zkąd uciekł przed prześladowaniem Rosyi, kradł z nędzy itd. Obecnie się pokazuje jednak, że nie jest on Polakiem i Ledóchowskim się nie nazywa. Na razie przyznał się do nazwiska „Kniesiakow“ i rosyjskiego pochodzenia, a wczoraj chciał sobie życie odebrać przez uderzenie głową o mur. Kto on jest rzeczywiście, niewiadomo — dobrze przynajmniej, że nie jest Polakiem.

Xi.

LISTY
z Krakowskiego Przedmieścia

(Bronisław Chrzanowski. Smutny pogrzeb. Cichy dramat. Obrazy Podkowińskiego. Bójka literatów. W obronie pokrzywdzonych).

I.

Od smutnego wspomnienia muszę rozpocząć po długiej przerwie tę nową seryę listów.

Przed tygodniem zaledwie pochowaliśmy jednego z kolegów, który nierównie więcej obiecywał, niż mógł dać, przy krótkiem, pełnem niepowodzeń i zawodów życiu.

Bronisław Chrzanowski zmarł, mając zaledwie lat 27, w szpitalu Dzieciątka Jezus, po długiem cierpieniu kręgosłupa i dwóch próbach niepomyślnych operacyjnego leczenia. Trumnę jego odprowadzało bardzo a bardzo nieliczne grono kolegów-literatów i kilkadziesiąt osób z młodzieży, którzy znali jego prace i cenili je; na trumnie trzy skromne wianki: jeden od rodziny, drugi od przyjaciół, trzeci z pąsowemi wstążkami „od współtowarzyszy w pracy i idei.“

Skromne było życie i skromny pogrzeb tego pracownika, który przez całe życie walczył ciężko z biedą i z niechęcią ludzką, który żył tylko dla idei, dla niej wyrzekając się wszystkiego. I przyroda była w harmonii z tą obojętnością ludzką... Kaszka lodowata padała z wiatrem na odkryte głowy nielicznego grona, które otaczało trumnę na Powązkach, gdy ją spuszczano w jamę grobową... I tylko rozpaczliwe szlochania matki i sióstr, a smutne rozmyślania kolegów służyły za mowę żałobną.

„Za całą sławę — krótki płacz kobiecy
„I długie nocne rodaków rozmowy.“

„Społeczeństwo“, tj. ci, którzy mają się za przedstawicieli społeczeństwa, obojętni są dla tych, którzy nie umieją kłaniać się i krygować, błyszczeć kłamaną oryginalnością, dogadzać silnym i wybijać się przy pomocy łokci... Jakżeż inaczej wyglądał by pogrzeb bogatego piwowara. Na pogrzebie Chrzanowskiego nie było nawet redaktorów pism, którym oddał swe siły...

Br. Chrzanowski otrzymał wykształcenie w korpusie kadetów i szkole handlowej. Nie czując jednak powołania do handlu oddawał się pracy umysłowej, czytywał ogromnie wiele i próbował pisać bardzo wcześnie. Przez długi czas nie udało mu się umieścić nic ze swoich sprawozdań; wreszcie, dzięki życzliwości jednego z kolegów, wydrukowano jego pierwsze próby krytyczne; odtąd już nieboszczyk widział, że marzenia jego są niejako uprawnione; z podwójną energią zabrał się do pracy. Całemi dniami siadywał w Czytelni Głównej (przy uniwersytecie), gdzie go poznałem, lub w Czytelni naukowej.

Zagłębiony w pracy, więcej niż ubogo ubrany, często całemi dniami nic nie jedząc prócz szklanki herbaty z bułką, głodzący się w milczeniu, dopóki ktoś z kolegów nie zauważył tego i w sposób delikatny pod jakimś pozorem nie zaciągnął go do siebie na obiad, Chrzanowski żył wielką myślą przyszłości; dla niej wyrzekł się nietylko dostatku, który tak łatwo mają głupcy, umiejący się stosować do okoliczności, ale nawet najniezbędniejszych potrzeb. Powiadają że miał zamożnych krewnych, ale nigdy nie udał się do nich o pomoc a nie udawał się nawet do najbliższych przyjaciół. Praca literacka rwała się co chwila: tu redaktor odmówił mu dalszej pracy dla tego, że pochwalił utwór umieszczony w niemiłem dla niego piśmie; w drugiem piśmie musiał przestać pisywać dla tego, że nie chciał chwalić i ganić dzieł według sympatyi i antypatyi redaktora... Jakiś czas uśmiechał mu się los; miał zupełną swobodę i wiele miejsca w „Niwie“, którą kierował przez parę miesięcy. Tu rozwija się swobodniej już talent jego; umieszcza on większe studyum p. t. „Współczesna powieść polska“, w którem ocenia działalność pisarzy utalentowanych i ideowych jak Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Ostoja, Dąbrowski i t. d. w przeciwstawieniu do bezidejowej falangi powieściopisarzy z Kuryerków i pism illustrowanych, fabrykującej plotkarsko - paszkwilowe powieści dla dogodzenia gustom publiczności salonowej, lubującej się w karykaturach swoich znajomych a nie poznającej siebie. Dalej ogłosił: Ciche dramata — rozbiór powieści Ostoi — i rozprawę p. t. Histerya w beletrystyce (Gabryela Zapolska). Przed tem jeszcze zwróciły uwagę studya jego w „Głosie“ p. t. Mistycyzm ludowy (z powodu „Chama„ Orzeszkowej) i Pesymizm w literaturze (z powodu Jana Choińskiego „Pozytywizm Warszawski“). Prócz tego umieszczał nieboszczyk prace swoje w Przeglądzie tygodniowym“ i w „Prawdzie“. Rozbiór „Śmierci“ Dąbrowskiego, napisany z wielkiem poczuciem i zrozumieniem, a umieszczony w tym ostatniem piśmie, będąc przesłany tłumaczowi w przekładzie niemieckim, stał się przyczyną przekładu na język niemiecki utworu Dąbrowskiego i został wydrukowany we wstępie do niemieckiego wydania,

Jednocześnie z powodzeniem występowała i zawiść; ktoś kopnął go w „Roli“ pod pseudonimem, a frazes puszczony psuł opinię wśród ogółu, gdzie mało kto czyta, mniej jeszcze umie oceniać a wszyscy chcą sądzić i krytykować na kredkę...

Polepszenie względne losu, które towarzyszyło rozwojowi talentu, nie zapobiegło chorobie, która oddawna gnieździła się w znękanym organiźmie. Gdy cenzor ciągłem prześladowaniem i pogróżką zgnębienia „Niwy“ zmusił wydawcę do sprzedania jej spekulantowi, ś. p. Bronisław Chrzanowski został boleśnie dotknięty tą stratą jedynego, jakie mu zostawało, swobodnego pola do twórczości literackiej.

Choroba rozwinęła się i mimo starań i troskliwości rodziny i kolegów w krótkim czasie dokonał życia w szpitalu.

Br. Chrzanowski zapowiadał się na krytyka zupełnie niepospolitego i przytem w takim rodzaju, którego u nas dotąd prawie nie uprawiano. Odznaczając się wielką trafnością sądu estetycznego, subtelnością pojmowania psychologicznego i ciepłem, z jakiem traktował dzieła, stosował on do nich zawsze miarę ideową, a tem się różnił wybitnie z jednej strony od krytyków filigranowych starej szkoły, jakich nie mało, i od młodych ludzi, którzy ograniczają się do streszczenia utworu i rzucenia z wysokości swego krytycyzmu tam „dobrze“ tu „źle“, z drugiej od tych, którzy do utworów literackich stosują miarę jakiejś świeżo ukutej w Paryżu doktrynki, tendencyjki, szkółki, innemi słowy nie mają nic swego.

Jako próbkę jego pióra pozwolę sobie przytoczyć kilka słów, charakteryzujących twórczość Zapolskiej:

„Zapolska nadto wiele posiada gorączki dramatycznej, za dużo wnosi patosu do obrazków illustrujących trywialne strony bytu gatunku ludzkiego. Pospolite zjawiska życiowe nie zawsze można spowijać czernią chmur, pomrukujących burzą, ozdabiać barwami żałobnemi. Pazury konieczności nie zawsze są groźne i majestatyczne, są jednak nieuniknione i bezlitośne. Renan powiedział niegdyś: „l'âge mûr méprise avec tolérance“. Otóż na taką dojrzałą możnowładczą pogardę Zapolska nigdy zdobyć się nie może i nie chce. Pogarda, jaką żywi względem brudów i szpetoty moralnej, by-

najmniej nie jest dyskretną, sama sobie wystarczającą. Wszelkie niepożądane objawy jątrzą ją gwałtownie i rozstrajają chorobliwie. Utwory jej udzielają nam całego mrowiska bólów i wstrętów. Pęk ogniów mocnych z trzaskiem wylata z jej dzieł i oświetla widnokrąg, ponuro sklepiony nad życiem tegoczesnem. Smutno nam się robi i boleśnie. Z. nie potrafi być niemym widzem w obec bezrządu moralnego, toczącego nasze życie. Nie nuci pieśni tkliwych, nie rozbrzmiewa też godowemi. Prawie nigdy nie pojawia się na jej ustach uśmiech dobroci i pobłażliwości. Płochość myśli i uczuć jest rzeczą zgoła nie pasującą do jej temperamentu. Posiada niezwykłą czujność i odwagę względem wszystkich nienormalnych zjawisk. Szczerość jej i odwaga w wypowiadaniu przykrych rzeczy są nieopospolite"". itd.

Jakże ta treściwa i zbita charakterystyka różni się od wodnistej frazeologii, tylu naszych krytyków na zawołanie!

Gdy mowa o świeżej mogile, niech mi wolno wspomnieć słów kilka o nieco dawniejszej, ale jeszcze nie zapomnianej stracie sztuki naszej.

W „Towarzystwie zachęty" otwarta jest dotąd wystawa pośmiertna dzieł Podkowińskiego, młodo zmarłego na suchoty malarza. Niewielki ten zbiór robi smutne a nawet przykre wrażenie; znać tu talent zupełnie spaczony przez doktrynerstwo i pozę na oryginalność, której brakło twórcy. Nieboszczyk wysilał się na pomysły, dziwacznością i szpetnością prześcigające się nawzajem, zdobył sobie rozgłos wśród kółka ludzi o słabem poczuciu estetycznem, uganiających się za nowinkami zwłaszcza charakteru dekadenckiego i za jaskrawością tematu, ale nie mógł znaleźć uznania ze strony poważniejszej krytyki artystycznej. Największy z obrazów jego „Szał", przedstawiający nagą kobietę obezwładnioną na grzbiecie spienionego bucefała, dziwaczny w pomyśle, niepoprawny w wykonaniu narobił w swoim czasie hałasu nie tyle zuchwalstwem treści, ile przez tę okoliczność, iż sam autor pociął go na kawałki, gdy był już od paru tygodni wystawiony. Dziś figuruje odnowiony na wystawie.

Przyglądałem się twarzom widzów, którzy gromadnie go oglądali: na wszystkich twarzach czytałem wyraz niechęci... Zapewne są krytycy, którzy taki rezultat uważają za tryumf artyzmu. Ja się na podobne zdanie nie piszę. Po obu stronach tego wielkiego obrazu dają się widzieć dwa bardzo ciemno malowane płótna, z których po dłuższem w nie wpatrywaniu się zaczynają wynurzać się postacie. Na jednym (Nokturno) widzimy przykutą do skały kobietę, strzeżoną przez wieniec wilków, których pałące oczy są pierwszą rzeczą jaką widz dostrzega w tym powszechnym mroku; na wysokiej skale, oddzielonej przepaścią od niewolnicy, stoi wędrowiec i zdaleka przygląda się widowisku. — Pomysł piękny zapewne, ale malowanie nie jasne i tak ciemne, że trudno coś o niem powiedzieć. Drugi obraz p. t. „Pogrzeb" jest próbą uzmysłowienia na płótnie tego, co Chopin oddał w dźwiękach, a Ujejski wytłomaczył słowem. Jest to biała oświetlona mglistem światłem dziewica w trumnie; nad nią unoszą się stada kruków; obok młodzieniec pogrążony w rozpaczy i jeszcze jakieś niewyraźne kształty, jakiś zamęt i chaos cieniów, który może jest próbą odcienia w barwach stanu umysłu rozpaczającego, a może ponurych dźwięków dzwonów. Bo ta chorobliwa chęć oddania w pewnem zakroju sztuki tego co nie należy do jej zakresu, cechuje właśnie najczęściej sztuczne wysiłki oryginalności, kiedy prawdziwy talent przeciwnie lubuje się w prostocie i jasności. Dziedziną malarstwa jest plastyczność, a jej to właśnie brak obrazom Podkowińskiego; koloryt ich przytem zawsze dziwaczny i niezdrowo przesadny. Uderza to szczególniej w kilku ciałach kobiecych, które grzeszą przytem i pozą i rysunkiem. Nie powinniśmy atoli ztąd wnosić o braku talentu nieboszczyka. Nie dał on mu się rozwinąć, zmanierował go i spaczył przez hołdowanie doktrynkom, przez chęć podskoczenia wyżej niż najwyżej skaczący z francuzkich symbolistów i dekadentów. Tam gdzie nie dręczy go mania oryginalności i pozy — jak np. w ładnym obrazku, przedstawiającym, jeśli mnie pamięć nie łudzi, grę w krokieta, lub w portretach, tam maluje ładnie, daje żywe postacie, grupuje z talentem. Ale takie rzeczy wymagają pracy; obraz zaś, w którym wszystko czarne i wszystkiego trzeba się domyślać, nie wymaga żadnego opracowania szczegółów. Krótko przed śmiercią Podkowiński robił studya do większego obrazu mającego przedstawiać tanicc szkieletów. Jak Marsz żałobny Szopena natchnął zdaje się „Pogrzeb", tak „Danser Macabre" St. Saence'a prawdopodobnie był tu pobudką. Wielka szkoda, że ten pomysł nie przyszedł do życia, gdyż studya kredkowe przedstawiające szkielety w najrozmaitszych podskokach i czaszki wytrzeszczone trupim śmiechem zapowiadały coś nader oryginalnego i pełnego fantastycznego życia.

Skoro mowa o świecie literacko-artystycznym, to niech mi wolno będzie potrącić o jeden również nie zbyt świeży wypadek, ażeby sprostować błąd, czyniący krzywdę ludziom zasługującym na szacunek. Niejeden z czytelników zapewne spotkał się przed kilku tygodniami z rzuconą przez „Kuryer Codzienny" a powtórzoną przez inne pisma potwarzą o napaści dwóch znanych literatów z kijami na jednego — i o ciężkich plagach, które miała dostać owa ofiara gorliwości krytycznej. Otóż nie wdając się w szczegóły, które niebawem wyjaśni zapewne sąd, mogę tylko powiedzieć, na podstawie słyszanego od ludzi wiarogodnych, że to co pisze sam o sobie poszkodowany redaktor „Kuryera" nie jest prawdą; prawda zaś tylko tyle, że dostał policzek wśród białego dnia na ulicy od kogoś, z kim pierwszy szukał zwady, a w tem szukaniu zachował się w sposób niehonorowy.

Najsmutniejszym zaś objawem, świadczącym bardzo niekorzystnie o prasie naszej, jest to, że żadne z pism, nawet to, którego karty posłużyły za pole do pierwszych wystąpień zaczepnych, nie chciało przyjąć sprostowania ani oszczerstwa początkowo wydrukowanego w „Kuryerze," (które było przyczyną policzka), ani kłamanej wieści o napaści z kijami, chociaż wieść ta wplątała do operacyi znanego i powszechnie cenionego człowieka, czyniąc ze świadka napastnika. Czy taki sposób szukania sprawiedliwości był jedynym pozostającym w ręku obrażonego, czy nie mogli znaleźć innego, mniej brutalnego, o tem trudno mi decydować; nie mogę zatem faktu usprawiedliwiać bezwzględnie. Oburzającem jednak jest to, że gdy potwarz hasa bezkarnie i z przesadą powtarza się we wszystkich pismach, pokrzywdzony nie ma możności, wydrukować słowa na swoje usprawiedliwienie.

Dzwon.

NA WYŁOMIE.

(Chiny i Japonja. Aljans i zebranie Niemców poznańskich. Zebranie ruchu ludowego Przeładowanie programu).

Gdyby ktoś dzisiaj zaprosił Chińczyków i Japończyków na wielką naradę w sprawie — no! dajmy na to — jakiej antieuropejskiej ustawy, przekonany jestem, że starej Azyi synowie powydzieraliby sobie z głowy kilka łokci warkoczów i zmoczyli żółte oblicza herbacianym ukropem, mimo zawartego pokoju. I gdyby dzisiaj poznańscy heroldowie polityczni zgromadzili na jednej sali zwolenników ruchu ludowego z mężami „ładu i porządku", pod hasłem „Precz z ustawą antiprzewrotową", to mimo sympatycznej pobudki nasi Japończycy — ludowcy i Chińczycy — „dworusy" zabraliby się, jeżeli nie do rewolwerów, to przynajmniej do bambusów. To też biedna moja głowa, nabita rojowiskiem wspomnień ponurych, nie mogła oprzeć się przeczuciu, że więc polityczny Niemców poznańskich, — zwołany w trzecie święto wielkanocne do sali Lamberta, — zamieni się w Chiny i Japonją, a ja znowu odegram rolę korespondenta „Z teatru wojny". Zdawało mi się bowiem, że chińska herbata uwięziona w kubku japońskim rozsadzi zmienawidzone naczynie, — zdawało mi się, że konserwatywne stronnictwo ujęte w kluby wolnomyślne nie zniesie więzów krępujących i jeżeli nie rozbije zebrania, to wzorem Chińczyków odwróci się plecami do japońskiej armii. Obcem mi wprawdzie nie było, że w obec groźnego niebezpieczeństwa „przewrotowej ustawy" zdecydowało się stronnictwo poznańskiego „Tageblattu" zawrzeć odporne przymierze z stronnictwem „Freisinnu", ale wiedziałem również, że cała komenda spoczywa w rękach wolnodumców, których stanowisko w sprawie rządowego projektu jest nietylko radykalniejsze od przekonań prawicy, ale poniekąd na odmiennych oparte motywach. Nie wątpiłem ani chwili, że mając w rękach dzwonek prezydalny, większość w komitecie i mówcę wiecowego o p a r e x c e l l e n c e wolnomyślnej barwie, — „Freisinn" niemiecki nada ton całemu zebraniu, wyciskając własne piętno na tym aljansie wiecowym. Lękałem się, że Chińczycy nie zniosą takiej supremacyi japońskiej i bitwą lub ucieczką zakończą zebranie. Przeczucia jednak, z polskich wysnute przykładów, zawiodły zupełnie. Zebranie w wzorowym porządku i zgodzie zaczęło się, trwało i skończyło.

Chwilami zdawało mi się, że konserwatywne zastępy, podrażnione błyskawicami wolnodumstwa niemieckiego, sarkną i protestem cisną ku trybunie, — cisza, nikt nie przerywa. I mówca adwokat F a h l e snuje spokojnie krytykę swoją. Z ironją mówi o monarchii, z grymasem satyra prawi o religii, żąda rozszerzenia swobody konstytucyjnej, piętnuje autokratyczne tendencye państwa, zachwyca się wolnością słowa i myśli, z widoczną sympatyą cytuje dzieła rewolucyjnych pisarzy, — jednem słowem prezentuje cały program wolnomyślnych ideałów i dążeń. A konserwatyści słuchają w milczeniu i dopiero w samym końcu, gdy F a h l e mówić już przestał, zaznacza ich reprezentant stanowisko swoje.

Zazdroszczę Niemcom, — zazdroszczę im tej dojrzałości parlamentarnej i tolerancyi dla cudzych przekonań. Tam zachowawczym hufcom krew w żyłach kipiała i krzyk opozycyi cisnął się na usta, ale ludzie wykarmieni duchem konstytucyi, zmężniali w rutynie życia publicznego i oświeceni politycznie, mają szacunek dla cudzych przekonań i pojmują dobrze, że zakrzyczeć przeciwnika, a zwyciężyć go, to dwa odmienne pojęcia. A my? Przypomnijcie sobie tylko zebrania wyborcze na sali Lamberta lub w Bazarze. Gdy mówił „Postęp", wył „Dziennik, Wielkopolanin i Kuryer", — gdy mówił „Dziennik" wył „Postęp" i „Orędownik". A wycie to rozlegało się nawet w takich chwilach, gdy elektryzujące sprawy zasadnicze znikały z widowni obrad — gdy polemizowano o kwestye czysto formalnej natury lub kłócono się „o brodę cesarza". I nie robotnicy jedynie, sfanatyzowani palącemi artykułami dzienników, straszyli wroga amerykańskim koncertem, lecz nawet inteligencya przeciągłem „b u . . . u . . .u" gromiła przeciwników swoich na estradzie.

Tak było jeszcze przed kilku miesiącami. Czy dzisiaj byłoby inaczej? Wątpię, — i rad jestem nawet, że dwa polskie zebrania, odbyte w sprawie ustawy przewrotowej, nie zgromadziły na jednej sali Chin i Japonii, ramię przy ramieniu. Gdyby w toku dyskusyi pojawiły się dwie rezolucye tej samej treści, lecz odmiennej formy, huczeliby jedni „lub" a drudzy „a l b o" jedni „i" a drudzy „oraz", — a gdyby nadomiar dotknięto piekącej rany komitetu, nie wiem czy wśród grzmotów i wichrów zawinęłaby łódź szczęśliwie do portu. „Ruch ludowy" poszedł swoją drogą i nie widząc chińskich warkoczów, wysłuchał z powagą i spokojem trzech prelekcyi o historyi stronnictwa własnego, o strejkach, ringach, giełdach, zniżkach, zwyżkach, dyskontach i wniosku Kanitza, a wreszcie o ustawie przewrotowej i stanowisku posłów polskich do społeczeństwa. Trzy prelekcye! — darujcie panowie, ale mimo całego szacunku, jaki mam dla waszej pracy, erudycyi i swady oratorskiej, pragnąłbym na przyszłość mniej krasomówczych popisów, bo liczę się z psychologią i znużeniem ludu roboczego, który przez półtrzeciejgodziny słuchał stojąco tajemnic ekonomii, prawa a nawet statystyki liczbowej. Czwartkowe zebranie ruchu ludowego świad-

czyło wymownie, że kierownicy stronnictwa przystępują z uznania godną powagą i sumiennością do trudnej pracy nad polityczną oświatą niższych warstw społeczeństwa, ale lękam się, że nadmiar akademickiego materyału łatwo zniechęcić może tych prostych ludzi, nieprzyzwyczajonych do wysiłków umysłowych, a strudzonych nadto całodzienną pracą fizyczną. Miałem wrażenie, że wszyscy mówcy panowali doskonale nad tematem, o którym przemawiali do wyborców, ale jedna szczególnie prelekcya, której autor lubował się w długich spacerach po krętych krużgankach ekonomii, nużyła brakiem ścisłości zgromadzonych słuchaczy. Dla dobra sprawy byłoby korzystniejszem układać program uboższy pod względem materyału, ale za to intenzywniejszy w wykonaniu, a mianowicie biernych słuchaczy zamieniać w czynnych aktorów. Ta armia ludowa nie powinna na przemówienia jenerałów swoich odpowiadać jedynie echem oklasków i wiwatów, lecz korzystać z prawa głosu i dyskusyi, którą niestety dla spóźnionej pory skreślono z czwartkowego zebrania. Wtedy ożywią się ciężkie, nieruchome masy i słońce politycznej oświaty rozproszy mroki przedświtu.

Bądź co bądź ten ruch ludowy złożył nowy dowód obywatelskiego rozwoju, stwierdzając liczbą swoją i karnością głębokie przywiązanie do sztandarów stronnictwa.

Ci, którzy dziś jeszcze słowem lekceważącej pogardy witają każde drgnienie nowego życia, przypominają zaiste słowa biblii: „Mają oczy, ale nie widzą, mają uszy, ale nie słyszą".

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

— Echo muzyczne (Nr. 14) na pierwszej stronnicy podaje wizerunki trzech laureatów swego konkursu, pp. Biernackiego, Maszyńskiego i Borkowskiego. Ciekawy jest artykuł wstępny, p. t. „Publiczność premjerowa". Autor tego artykułu jest zdania, że premiery powinny być strącone ze swego decydującego stanowiska i zastąpione przedstawieniami abonamentowemi. W części belletrystycznej spotykamy powieść Junoszy: „Oficyna" i nowelkę R. M. p. t. „Nauczycielka". Wiadomości obfite z dziedziny sztuki, kronika i notatki artystyczne — wypełniają treść numeru.

* * *

— Dawna powieść. Napisał Agi-wdaj. Kraków. r. 1895, str. 90.

Zapóźnione echa romantyzmu błąkają się do dziś dnia jeszcze po niwie naszej poezyi. Jednym z takich utworów wzorowanym co do formy na mistrzowskim wierszu Mickiewicza jest wymieniona w nagłówku książeczka, opiewająca w gładkich co do rymu i rytmu, jedenastozgłoskowych wierszach, miłosne dzieje jakiejś zakochanej pary. Możnaby wiele mówić na ten temat, o ile tego rodzaju utwory mogą mieć uprawnienie w dzisiejszej literaturze, na jedno zawsze jednak zgodzić się wypadnie, że tkliwy sentymentalizm prawdopodobnie raz na zawsze wyrugowany został z poetyckiej dziedziny. Choć pseudonimem okryty autor, czy autorka, akcyę swej poetyckiej opowieści, oparł o tło historyczne, choć wplótł w nią demoniczną miłość cyganki, która pragnie swą palącą namiętnością oderwać bohatera od narzeczonej, pomimo to, dominującym pierwiastkiem utworu pozostaje zawsze chorobliwy, przestarzały sentymentalizm, który odejmuje książeczce aktualność i literacką wartość. „Dawna powieść", pod względem typograficznym wydana jest bardzo wykwintnie.

* * *

— „Ateneum". — Marzec 1894. W omawianym zeszycie „Ateneum" zasługuje na bliższą uwagę ciekawy artykuł p. Leona Iwanickiego p. t. „Sprawy ekonomiczne", powtarzająca się peryodycznie kronika ekonomiczna. Tym razem autor porusza myśl asocjacji rolniczych, jako jednego z ważnych środków zaradczych, do którego, zdaniem p. Iwanickiego, w blizkiej już przyszłości zwrócić się będzie trzeba, aby podniešć upadające gospodarstwo rolne. Myśl tę, rzuconą tylko, obiecuje autor w przyszłości dalej rozwinąć i sformułować.

Równie, jeżeli nie bardziej, ciekawą jest druga połowa tego artykułu, w której autor daje dość szczegółowy przegląd stowarzyszeń przemysłowych: akcyjnych, udziałowych i na wzajemności opartych, których w Królestwie Polskiem istniało w r. 1893 około stu. Nie możemy tu naturalnie powtarzać cyfr, przytoczonych w owym artykule, wyjmiemy tylko z ogólnego bilansu 72 towarzystw, opisywanych przez autora, fakt dotyczący zysków, jako najlepiej ilustrujący dla szerszej publiczności stan przemysłu w danym kraju. — Otóż czyste zyski wyniosły w r. 1893 11,545,565 rs. 56 i pół kop., t. j. jedenaście i pół procent kapitału zakładowego tych towarzystw. Jest to rezultat, którym nie może się poszczycić ani jedno z zachodnich państw europejskich.

Znany publicysta, dr. Trepka, w pięknym artykule kreśli „Ewolucyę stronnictw politycznych w Anglii". Dobrze przedstawia autor zmiany w łonie odwiecznych partji torysów i whigów, pod wpływem nacisku idei demokratycznych i rosnących zadań społecznych, w rozwiązaniu których Anglia bodaj że [jak i pod wielu innymi względami] przodować będzie Europie.

Z innych artykułów wskażemy studyum o Rodzie p. t. „Krytyk moralista" Przewóskiego, spory ustęp z poematu: „Bezseene noce" K. Glińskiego i początek powieści Sewera „Biedronie", z życia chłopskiego.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Niektóre pisma niemieckie i polskie zamieściły wiadomość, że niebawem pojawi się ukaz carski, nakazujący zwrócić skonfiskowane po roku 1863 dobra ziemskie dawnym ich właścicielom lub ich spadkobiercom, ale oczywiście stanie się to jedynie z temi dobrami, które nie przeszły w ręce prywatne, lecz jeszcze znajdują się w administracyi rządowej. Myśl tę powziął podobno minister rolnictwa p. Jermołow i uzyskał aprobatę monarchy. — „Köln. Ztg." dowiaduje się, że rząd nie zgodzi się na przyjęcie ustawy przewrotowej w tej formie, w jakiej wyszła z komisyi. — Japonia zawarła z Chinami pokój na warunkach wielce korzystnych dla siebie. — Z całych Niemiec wyemigrowało w miesiącu marcu rb. do krajów zamorskich przez porty niemieckie, Antwerpią, Rotterdam i Amsterdam razem 3036 osób. — Położenie Hiszpanii na wyspie Kubie pogorszyło się znacznie. Powstańcy wspierani przez Stany Zjednoczone Ameryki rosną w potęgę. — Silne trzęsienie ziemi dało się uczuć w Rzymie, Tryeście, Lublanie. Abazyi, Zagrzebiu, Celowcu, Gorycyi, Hradcu, Kromburgu, Ober Loitsch i Lees.

Teatr i muzyka. W środę wystawiono na scenie poznańskiej fragment dramatu Adama Mickiewicza p. t. „Konfederaci Barscy" z uzupełnieniem Olizarowskiego. Część nie-Mickiewiczowska wywarła wrażenie ujemne. — Dziś w sobotę ukaże się po raz pierwszy na scenie naszej dramat lokalnego autora p. dr. Karchowskiego p. t. „Na schyłku". — W niedzielę rozpoczyna artystka warszawska p. Leszczyńska szereg gościnnych występów na poznańskiej scenie. Dotychczas zapowiedziano dwa przedstawienia z współudziałem gościa warszawskiego: „Wielki człowiek do małych interesów" i „Wojna w czasie pokoju". — Komisya artystyczna teatru krakowskiego nie zatwierdziła kontraktów zawartych przez dyrekcyę z głośnym Lubiczem i panią Bednarzewską. — Operetkowy personał teatru łódzkiego wyjechał na gościnne występy do Piotrkowa. — Część artystów poznańskich zamierza podobno w czasie letnich miesięcy występować w jednym z teatrzyków warszawskich. — W Galicyi zorganizował nową trupę artystyczną monologista p. Lelewicz.

Zjazdy i kongresy. W Kijowie odbędzie się zjazd właścieli lasów. — W Berlinie odbył się zjazd chirurgów. — Toczą się układy o zwołanie kongresu fotografów do Moskwy.

Wiadomości literackie. Utalentowany literat poznański p. Kazimierz Puffke, odczyta na publicznem posiedzeniu Tow. Przyjaciół Nauk rozprawę o „Teatrze w Warszawie". Pan Puffke pracuje również nad obszerniejszem studyum o Emilu Zoli.

Wystawy. W uzupełnieniu dawniejszych doniesień naszych zapisujemy, że w roku bieżącym odbędą się następujące wystawy: Wystawy przemysłowe w Alsfeldzie (Hesja) Glarus, Królewcu, Malborgu, Moskwie, Poznaniu, Schönebecku, Stralsundzie, Strasburgu i Cieplicaah; wystawa kucharska w Bochum; wystawa piekarska w Bruńświku; malarska w Dortmundzie, hygieny dziecięcej w Dreźnie, architektoniczna w Düsseldorfie, elektryczności w Kaiserslautern, Karlsruhe i Paryżu. Wystawa przemysłu i handlu urządzona będzie w Lubece; wystawy rolnictwa i ogrodownictwa w Charlottenburgu, Chemnitz, Dreznie, Kijowie, Lincu i Magdeburgu, wystawa maszyn rolniczych w Wiedniu. Szereg ten zamykają: wystawy sztuk pięknych w Hamburgu i Wenecyi, wystawa oświetlenia gazowego w Würzburgu, powszechna wystawa wynalazków w Monachium, wystawa fotograficzna w Zgorzelicach (Görlitz) na Szląsku i wystawa welocypedów w Medjolanie. Mnóstwo mniejszych wystaw lista powyższa pomija.

Urzędowa statystyka rosyjska. Liczba umiejących czytać w niektórych powiatach gubernii lubelskiej, jak donoszą urzędowe „Lubelskie Gubernialne Wiadomości" tak się przedstawia: Cyfry wyłącznie dotyczą włościan, pociągniętych do służby wojskowej. W powieaie biłgorajskim w roku 1894 umiało czytać po polsku 7, po rusku 58, na ogólną liczbę 49,543 stałej ludności męskiej. Szkół w powiecie było 28. W powiecie lubelskim razem z miastem Lublinem w roku 1894 umiało czytać po polsku 74, po rusku 236 na 67,102 ludności stałej męskiej. Szkół było 29. W powiecie tomaszowskim w r. 1894 umiało czytać po rosyjsku 161, a po polsku ani jeden. Ogólna ludność męska powiatu wynosi 45,479, szkół jest 49. W powiecie „nowo-aleksandryjskim" w roku 1894 czytało po polsku 419, a po rosyjsku 149, na ogólną ludność 60,133 i 21 szkół. W powiecie lubartowskim w roku 1894 umiało czytać po rosyjsku 39, po polsku 56. Ogólna ludność wynosi 40,881, szkół jest 26. Czy to możliwe, aby istniały w lubelskiem powiaty, w których nikt po polsku czytać nie umie, lub też, aby na jedną szkołę wypadało pół osoby, umiejącej czytać? Cyfry te widocznie tendencyjnie sfabrykowane.

Nowy środek leczniczy odkrył prof. dr. Marmorek pod nazwą „antistreptococciny". Odkrył on, pracując w instytucie Pasteura, bakcylusa, który się srożý przy septycznych (zakaźnych) gorączkach i wywołuje zatrucie krwi, mianowicie przy wielkich ranach, róży, po połogu, przy dysenterji krwawej. Nazywa się „streptococcus pyogenes". Marmorek dochował się już kilku jego pokoleń. a zarazem sporządził truciznę przeciw niemu tak silną, że jedna dziesięćmiljardowa cząstka kubicznego centymetra zabija królika. Ten sam bakcylus odgrywa wybitną rolę także przy dyfterycznych chorobach wraz z bakcylusem Loefflera, a wtedy, gdy on się przyłączy, już surowica Behringa nie skutkuje. W szpitalach paryzkich środek ten stosował dr. Chantemesse z doskonałym skutkiem przeciw gorączce połogowej. Z przeszłości dr. Marmorka nadmienić wypada, że skończył wydział lekarski w Wiedniu, był asystentem prof. Chrobaka, a następnie prof. Pozzi'ego. W ostatnim czasie pracował w instytucie Pasteura.

Zmarli:

Dr Alfred Klingenberg, jeden z redaktorów N. Fr. Presse i autor czterech dramatów; zmarł przed kilku dniami.

Marcin Gerss, pisarz i wydawca w gwarze mazursko-polskiej, zm. 28. marca w Lece na Mazurach. (Patrz Przegląd prasy polskiej).

Dawid Lugeon, rzeźbiarz szwajcarski, zmarł w Lozannie w końcu marca.

BIBLIOGRAFIA.

Jokey Maurycy, Brzydkie panny. Powieść współczesna. Przełożona z oryginału węgierskiego przez B. J. Cena 0,75 mr.

Katalog rozumowany książek dla dzieci i młodzieży. Wydany z zapomogi kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem, imienia dr. Józefa Mianowskiego. Cena 1,50 mr.

Korczyński dr Ludomir. Choroba Basedowa. Rozprawy z zakresu medycyny praktycznej. Ser. II, zeszyt 19. Kraków. Cena 1,20 mr

Lombroso C. i G. Ferrero. Kobieta jako zbrodniarka i prostytutka. Studya antropologiczne, poprzedzone biologią i psychologią kobiety normalnej. Z upoważnienia autorów tłomaczył dr J. Szenhak. Dzieło opatrzone rysunkami. Zeszyt II. Cena 1,00 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

Exul. Utwory nadesłane są znacznie lepsze od poprzednich. Mianowicie w wierszykach „Walec" i „Zazdrość" przebija się umiejętność obrazowania i nerw dramatyczny. Poezyom jednak brak artystycznego wykończenia. Przygrywka w wierszyku „Walec" wywiera miejscami wrażenie sztuczności i wysilonego rymowania.

Witold. W Berlinie mamy 14 abonentów. Ilu wśród nich jest akademików, trudno nam odgadnąć, ponieważ większość abonuje „Przegląd" na poczcie. — „Towarzystwo naukowe" otrzymuje jeden egzemplarz.

Niezapominajka z Wrzesińskiego. 1) Pod literami B. Ch. 2) W bieżącym sezonie „Zwyciężony" nie ukaże się już na poznańskiej scenie. Sezon kończy się 1. maja.

Endymion. Gorzkich skarg Pańskich zamieścić nie możemy. Zapewniamy jednak na pocieszenie, że im silniej kobieta nienawidzi, tem bliższą jest kochania.

Perełka. Nowelka nadesłana jest pod względem stylu poprawna. Rysunek charakterów jednak zupełnie chybiony. Umysłowa wyższość bohaterki, o której pani nieomal na każdej stronnicy wspominasz, nie budzi zaufania i potwierdza chyba fakt, że urok kobiecego rozumu opiera się niejednokrotnie na rażącej płytkości — męża. Działa tu prawo kontrastu.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 17. Poznań, Niedziela 28go Kwietnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Etyka dziennikarska.

Ponieważ z każdym zawodem specyalne łączą się obowiązki, istnieją też dla każdego specyalne zasady moralne obok moralnych zasad ogólnych, którym wszyscy ludzie bez różnicy powołania ulegać powinni. To, co się przebacza ludziom prywatnym, nie obarczonym odpowiedzialnością wobec opinii publicznej, staje się grzechem lub przewinieniem u człowieka, który przez swoje ogólnego znaczenia stanowisko zaciągnął wobec społeczeństwa szersze zobowiązania. Człowiek pędzący życie w zamkniętem kole swych rodzinnych i towarzyskich obowiązków, poświęcony wyłącznie pracy na chleb powszedni, może we wielu sprawach publicznych nie mieć własnego zdania a w chwili decydującej przechylać się ku zdaniu tego, który mu na razie dobitniejsze argumenta przedstawi, lub przemówi do niego osobistą sympatyą. Społeczeństwo nie traci wiele na zmianie jego przekonań, gdyż głos tego człowieka na sprawy ogólne wpływu nie wywiera. Jeśli więc tylko w zakresie swej pracy i swych osobistych obowiązków zachowuje się wzorowo, nikt mu nazwy porządnego człowieka nie odmówi. Jeżeli nawet w stosunkach prywatnych, nie chcąc drażnić sąsiada lub przyjaciela, przyzna mu racyą, choć nie podziela jego przekonań, jeśli przez uprzejmość i dla miłego spokoju zaniecha dyskusyi w kwestyi mało go obchodzącej — nikt mu z tego zarzutu uczynić nie może, póki postępowanie jego na bieg spraw publicznych nie oddziaływa.

Zupełnie jednak zmienia się postać rzeczy, jeźli np. ten sam człowiek zaszczycony zaufaniem wyborców zasiądzie na ławach prawodawczej izby. Wówczas obowiązkiem jego jest każdą sprawę omawianą zbadać, o każdej wytworzyć sobie własne, na pewnych podstawach oparte przekonanie i tego przekonania bronić, wbrew wszelkim ubocznym względom prywatnej natury. Wszelkie sympatye i antypatye, stósunki towarzyskie lub familijne winny ustąpić na plan dalszy — a jedyną miarą, linią wytyczną postępowania stać się powinien wzgląd na publiczne dobro.

To co w życiu prywatnem jest wynikiem uprzejmości towarzyskiej i taktu — w życiu publicznem staje się lekkomyślnością, odstępstwem, lub złą wiarą.

Stosunki prywatne zawierają się i utrzymują na zasadzie sympatyi osobistych, podstawą ich być mogą zalety lub towarzyskie przymioty osób, które się do siebie zbliżają, — w życiu publicznem zarówno sympatye jak i antypatye żadnej roli grać nie powinny — tylko wartość zasad i przekonań wyznawanych i głoszonych uwzględnić i brać w rachubę należy.

Ponieważ na straży spraw ogólnych stoi głównie prasa, ona to właśnie powinna się rządzić zawsze i wszędzie zasadniczemi przepisami etyki publicznej.

Dziennikarz z powołania swego zobowiązany jest głos zabierać w każdej kwestyi ogół obchodzącej. Nikt nie może wymagać od niego dokładnej w każdym kierunku znajomości rzeczy, nikt nie może go winić o popełnione w sądach i uwagach pomyłki — czego jednak od dziennikarstwa żądać mamy prawo, to dobrej wiary, sumiennego roztrząsania każdej kwestyi, objektywnego sprawozdania z przebiegu spraw ogólnych — wytrwałego, nieustraszonego i bezwzględnego poszukiwania prawdy i tylko prawdy zkądkolwiek zaczerpnąć ją można, czy ze strony przyjaznej i przychylnej, czy też niechętnej lub wrogiej. Tylko na takich zasadach oparta prasa może być sumienną kierownicząką opinii publicznej, streszczeniem publicznego życia narodu, wyrazem jego dążeń, uczuć i przekonań.

Czy dziennikarstwo nasze odpowiada tym wymaganiom?

Codziennie słyszymy tysiące przeciw niemu zarzutów, z tych zaś niektóre wprawdzie są nieuzasadnione, inne jednak niestety, zupełnie sprawiedliwe.

I tak niesłusznie mojem zdaniem zarzuca się prasie naszej, iż dzieli się na obozy i staje się echem walk stronniczych.

Wszędzie, gdzie tylko istnieje życie publiczne, ludzie zbliżonych przekonań grupują się w stronnictwa i stwarzają sobie organy, służące za narzędzia do propagowania własnych poglądów i idei. Dzieje się to, jak mówiłam, wszędzie, i nietylko, że społeczeństwom szkody nie przynosi, lecz przeciwnie zapewnia im niejakie korzyści. Ludzie pracujący dla publicznego dobra dążą do swego celu różnemi drogami i na różnych opierają je podstawach. Głosy odosobnione, choćby najsłuszniejsze, mało mają znaczenia i mało wywierają wpływu. Społeczne i polityczne kierunki i programy wcielić można w życie dopiero, uzyskawszy poparcie pewnej cząstki narodu, która je zaakceptuje i zbiorowemi siłami przeprowadza. Walka dwóch lub więcej odmiennych kierunków wywołuje wymianę zdań, starcie sił, wśród czego każdy z nich doskonali się, ustala, a zarazem oczyszcza z tych słabszych stron, które publicznej krytyki nie wytrzymują. Tym sposobem nawet zaczepki przeciwników bywają dla każdego stronnictwa pożądane, gdyż zmuszają je do ciągłej rewizyi i kontroli własnego programu, dają sposobność do dobitniejszego i bardziej wyczerpującego uzasadniania jego stron dodatnich, do modyfikowania lub usuwania ujemnych. Społeczeństwo zaś bez względu na wynik ostateczny walki zyskuje szansę, że jakikolwiek kierunek zwycięży, zawsze dzięki konieczności liczenia się z przeciwnikami politycznymi, pozbędzie się wszystkich swych cech najszkodliwszych i najzgubniejszych. Wszystko to jednak dzieje się pod warunkiem, że ogniwem łączącem każdy obóz będą idee i przekonania i że tylko o sprawy publiczne toczyć się będzie walka.

Jeżeli jednak łącznikiem danej partyi będą prywatne interesy, sympatye lub towarzyskie stosunki, jeżeli głosami jej organów kierować będzie wzgląd na osobistości, a nie na cele publiczne, jeżeli walka toczyć się będzie w obronie ludzi, nie spraw ogólnych — wówczas stronnictwo stanie się koteryą — a polemika bójką uliczną, której jedynym celem z każdej strony będzie wymierzanie guzów przeciwnikom, a unikanie ich dla siebie.

Niestety, przyznać musimy, że właśnie taki charakter mają przeważnie istniejące u nas stronnictwa i ich gazeciarskie walki.

Daremnie by ktoś czytając nasze dzienniki szukał w nich obrazu życia publicznego i politycznych naszych stosunków, daremnie starałby się zaczerpnąć dokładnych informacyi o rozwoju instytucyi miejscowych i ich kierunku. Czego jednak nauczyłby się dokładnie wbrew woli i zupełnie niepotrzebnie — to wszelkich miejscowych komeraży i niesnasek osobistych. Nie wiedziałby wprawdzie, co myśleć o naszej reprezentacyi politycznej, o naszych stowarzyszeniach, bankach, instytucyach narodowych lub filantropijnych, natomiast nie pozostawionoby mu najmniejszej wątpliwości co do tego, kto jest dobrze widzianym przez tę lub ową koteryą, kto kogo lubi lub znieść nie może, jakie nazwiska, korporacye lub instytucye liczyć mogą na stałe i bezwzględne poparcie w Dzienniku, Kuryerze, Orędowniku, Postępie itd. Przekonałby się dalej dowodnie, że wynikiem pochwały lub uznania w Dzienniku lub Kuryerze, będzie natychmiastowa ostra krytyka w Orędowniku lub Postępie i odwrotnie — powodów jednak, na których się uznanie lub krytyka opierają, doczytaćby się pragnął daremnie. Poznałby dokładnie ugrupowanie się partyi i ich niechęć wzajemną — lecz bezskutecznie zbadaćby pragnął ich program. Antagonizmy nie oparte zresztą na żadnych innych przyczynach, prócz osobistych niechęci, wybuchają u nas przy lada okazyi. Ujawniają się one zarówno w sprawozdaniach z zebrań publicznych lub działalności

stowarzyszeń, jak i w przeglądach literackich, recenzyach teatralnych, a nawet wiadomościach potocznych. Dowodem tego tysiączne przykłady.

Na jakiemś publicznem zebraniu wypowiada słów kilka w obojętnych lub czysto formalnych kwestyach przyjaciel Dziennika lub Kuryera np., później przemawia w sprawie ważnej osobistość tym organom niemiła, lecz mówi przekonywająco i wywiera decydujący wpływ na przebieg obrad. Nazajutrz ukazuje się w łamach danego pisma sprawozdanie, w którem czytamy, że p. X. — tj. pierwszy, miał piękną i zajmującą mowę, która wszystkich zainteresowała, a w dalszym ciągu dyskusyi zabierał także głos p. Y., tj. drugi, i nic więcej. Takie przemilczenie jest zresztą najskromniejszym objawem stronniczości; zdarzają się i jaskrawsze wykroczenia. Tak np. p. R. lub p. K. wnoszą rezolucyą, którą zebranie jednogłośnie przyjmuje. Pismo tym panom niechętne zaprzeczyć faktom nie może, nie może również walczyć przeciw jednomyślnej uchwale — czepia się zatem osobistości mówców i objaśnia czytelników, że p. R. dał dowód pychy i zarozumiałości, gdyż mówił rzeczy które wszyscy i bez niego wiedzieli, p. K. zaś jest tromtadratą, który przemawiał zupełnie niepotrzebnie — tak sobie dla przyjemności gadania o rzeczach ogólnie znanych. Nie uwzględniają panowie dziennikarze potrzeb czytelników, dla których zupełnie obojętną rzeczą są wady lub przymioty osobiste pp. R. lub K., którzy jednak mają prawo poznać i zrozumieć znaczenie rezolucyi i wartość motywów, na których ją oparto. Przypuśćmy, że każdy z tych panów jest skończonym złoczyńcą. Jeżeli jednak powiedzieli prawdę i uzyskali poparcie ogółu, doniosłość ich słów nic przez to w obec czytelników się nie zmniejsza.

Pojawia się czasem w pismach naszych głos zaczepiający lub krytykujący działalność której z naszych instytucyi publicznych, kosztem ogółu utworzonej, utrzymywanej, przeznaczonej dla jego dobra i interesującej wszystkich. Ciekawość czytelników poruszona do żywego, niejednego ogarnia niepokój, chciałby dokładnie zbadać i przekonać się, czy krytyka jest słuszną, czy kierownicy danej instytucyi, szafarze publicznego dobra zasługują na zaufanie, czy z zadania swego wywiązują się sumiennie, umiejętnie i gorliwie, a jeśli błądzą, czy błędy ich naprawić, czy daną instytucyą w porę uratować można Daremnie jednak szukają w szpaltach dzienników objaśnień i informacyi, któreby ich uspokoić i w bieg spraw najżywotniejszych wtajemniczyć mogły. Okazuje się bowiem, że ludzie, których działalność zaczepioną została, doznają opieki ze strony poważnych organów i zamiast wyjaśnień ważnych i koniecznych, wyczytujemy w pismach uwagi, że p. X. lub Y., który się zaczepki dopuścił, postąpił niewłaściwie, nietaktownie, jest złym kolegą lub co gorsza wichrzycielem, burzycielem porządku społecznego itp. Przecież dla ogółu społeczeństwa jest rzeczą całkiem obojętną czem jest p. X. lub Y. — a choćby on moralnie stał wiele niżej niż ci panowie, których zaczepił, to zasadniczą w danym wypadku kwestyą nie są przymioty osobiste różnych panów, lecz bieg spraw publicznych, o których czytelnicy mają prawo być objaśniani, a prasa ma święty obowiązek ścisłych, wiernych i bezstronnych objaśnień udzielać.

Prasa dla większości społeczeństwa stanowi jedyne źródło znajomości spraw publicznych i jedyną drogę do wywierania nad niemi kontroli. Kontrola zaś taka jest konieczną, jest jedynym środkiem do uchronienia życia publicznego od zastoju, martwoty i zgnilizny. Ludzie stojący na czele narodowych i publicznych instytucyi nie powinni być samowładnymi panami, kacykami rządzącymi wedle kaprysu w powierzonym sobie zakresie, oni też nie powinni stanowić tajnego związku, działającego w ścisłem porozumieniu pod osłoną grobowego, zaprzysiężonego milczenia. Są oni po prostu urzędnikami ustanowionymi przez ogół, podlegającymi jego władzy i kontroli, odpowiedzialnymi przed nim za każdy czyn, każde przewinienie i każdą pomyłkę. U nas zaczepienie jakiejkolwiek publicznej instytucyi uważanem bywa za zbrodnię przeciw solidarności narodowej — za rodzaj zdrady stanu lub buntu. Tymczasem jest ono w rzeczy samej obowiązkiem obywatelskim ludzi prywatnych jak obowiązkiem ludzi publicznych, zajmujących odpowiedzialne stanowiska, jest usprawiedliwienie się z każdego zarzutu i wyjaśnienie każdego wątpliwego punktu swej działalności.

Ileż razy stowarzyszenia nasze i instytucye w sprawozdaniach dorocznych skarżą się na obojętność i brak poparcia ze strony społeczeństwa. Skargi to w przeważnej części niesłuszne. Gdyby nasi wielcy mężowie dopuszczali do głosu ludzi, nie mających na wielkość patentu, gdyby nasze dzienniki otwierały wstęp krytyce przedmiotowej i nie piętnowały potępieniem każdego głosu śmiałej lub samodzielnej opozycyi, gdyby nie zabijały milczeniem lub pogardą każdego publicznego wystąpienia, które powagom miejscowym do smaku nie przypada — wówczas i ogół interesowałby się żywiej sprawami, w których czynniejszy mógłby brać udział. Zdawaćby się mogło, że u nas obowiązkiem obywatelskim ludzi prywatnych jest w każdym wypadku: płacić, milczeć i słuchać. Takiem przynajmniej zdaje się być przekonanie ludzi u steru stojących. Nic dziwnego, że od takiej roli każdy się najchętniej uchyla, czując dobrze, że każdy obowiązek powinien być z pewnemi prawami połączony, że nieustanne sięganie do kieszeni nie jest jedyną rolą myślącego obywatela, że jego świętą powinnością i niezaprzeczonem prawem jest dozór nad tem, jakie koleje przechodzi jego ciężko zapracowane grosiwo i jaki realny, pozytywny pożytek społeczeństwu przynosi. Jest również prawem i obowiązkiem obywatela samodzielnego i myślącego kontrola nad tymi, którym obronę swych interesów narodowych powierza. Powinien on żądać i wymagać, aby się oni sumiennie i gorliwie wywiązywali ze swego zadania, aby byli głosem ogólnych potrzeb, dążeń — wyrazem uczuć, przekonań, ideałów swego narodu.

Ten konieczny, nieodzowny związek między społeczeństwem a jego mandataryuszami, między ludźmi prywatnymi a ludźmi, którym stanowiska odpowiedzialne powierzono, utrzymywać się może tylko za pośrednictwem prasy, a u nas z winy prasy nie istnieje wcale. Przez swą koteryjność właśnie prasa nasza nie tylko nie nie czyni dla objaśniania opinii publicznej, prostowania jej i informowania, lecz stale, świadomie czy nieświadomie fałszuje ją, krępuje i trzyma w mgle wątpliwości — w sennym letargu. Poszukiwanie prawdy, które jako kardynalną zasadę etyki dziennikarskiej zaznaczyliśmy na wstępie — dla naszych organów jest sprawą podrzędną, o którą się nie troszczą. Elastyczność i giętkość dziennikarskiego sumienia staje się nieraz tak bezprzykładną, że niejedno pismo w przeciągu 24 godzin zmienia zapatrywania i poglądy na życzenie osób interesowanych i wpływowych. Czytelnicy zaskoczeni nagłą zmianą scenery — sami nie wiedzą co myśleć o danej kwestyi, a w końcu zniechęcają się do myślenia o niej wogóle, pozostawiając swym organom swobodę przewracania kota w worku ile razy uczuwają tego potrzebę.

Dzienniki pracują u nas skutecznie nad wytworzeniem najabsolutniejszej apatyi, bierności i bezmyślności społeczeństwa, które im wprawdzie często nie dowierza, lecz nie mając dróg żadnych do wyświetlenia prawdy, przestaje jej szukać i do niej dążyć, — a w końcu zatraca zdolność do samodzielnego myślenia nie mogąc jej w żadnym wypadku spożytkować i ujawnić. Na dziennikarstwo też w przeważnej części spada u nas wina za ogólną ciemnotę i zastój, które życie umysłowe naszej dzielnicy cofnęły najmniej o pół wieku poza cywilizacyjny i duchowy rozwój europejskich społeczeństw.

I. Moszczeńska.

Władysław Rabski.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(Ciąg dalszy).

KAROL.

Panie Leski! proszę o zwłokę, nie o darowiznę.

LESKI.

Ależ ja, kochany hrabio, mam także zobowiązania, z których uiścić się muszę. Na karku moim termin rewersowy i płatne sumy hipoteczne, a jak sam uznasz, kredyt się psuje.

KAROL.

Więc nie wiem, co począć... jestem bez wyjścia... nie mogę zapłacić. Jeżeli pan nie zwolnisz mnie ze słowa, nie pozostaje mi nic innego... (*wzrusza ramionami*).

LESKI.

O! bez dramatów. Skoro hrabia nie może pod żadnym warunkiem zapłacić, w takim razie z konieczności muszę poczekać, aż po latach chudych tłuste nastąpią.

KAROL,

Panie Leski! Słowa i ton pański są krwawą obrazą...

LESKI (*przerywając*).

O! panie hrabio...

KAROL.

Ale nie mogąc uiścić się z długu, nie mam nawet prawa upomnieć się. — więc milczę.

LESKI.

Nie unoś się hrabio!

KAROL.

Powiem krótko: Proszę o 6 miesięcy zwłoki.

LESKI.

Służę panu.

KAROL.

Dziękuję. (*kłania się i wychodzi drzwiami frontowemi.*)

LESKI (*spogląda za odchodzącym z uśmiechem*).

Ta chluba narodu trzepoce się jak motyl na szpilce.

(*Z lewej strony wchodzi Melanja, Warecki, Ruszczewski, Ostrzyński, Modliński i grono gości. Panie okryte szalami, panowie w paletotach.*)

Scena IX.

(*Leski, Melanja, Warecki, Ruszczewski, Modliński i grono gości.*)

MELANJA.

Panów ostrzegam przed syrenami, a paniom grożą delfiny.

LESKI.

Królewskiej rybie nie oprze się żadna syrena.

MELANJA.

Ale rekinów się lęka.

(*Śmiech ogólny.*)

OSTRZYŃSKI.

Brawo, brawo!

MELANJA.

Naprzód więc dziatwo Neptuna!

PAN HENRYK.

A panna Marta nie popłynie z nami? gdzie jej znaleźć nie mogę.

WARECKI.

Córka moja zasłabła trochę i obawia się chłodu wieczornego.

OSTRZYŃSKI.

Płaczcie wioślarze!

MELANJA.

To zwykła migrena, która minie niebawem. Marta odpocznie godzinkę i przy powrocie z regaty uwieńczy zwycięzcę. A teraz do łodzi! Wybiegam naprzód, by rozporządzić spalenie ogni bengalskich, a wuj poprowadzi wioślarzy na pole bitwy.

LESKI.

Salamis przy fajerwerkach.

(*Wszyscy wychodzą drzwiami frontowemi prócz Ostrzyńskiego i Ruszczewskiego.*)

POLITYKA.

John Murray u Bismarka.

(Eastem Herald Nr. 3965.)

Znałem Bismarka dawno, kiedy jeszcze był niczem, a właściwie był już posłem do Rzeszy. Poznaliśmy się w Frankfurcie, zbliżyli się i, jak to zwykle bywa na świecie, rozstaliśmy się na bardzo długo. Od owej chwili, czytałem tylko pilnie to wszystko, co pisano o wielkim prusaku, o żelaznym kanclerzu, o budowniczym Niemiec.

Teraz, kiedy po pięćdziesięciu blisko latach znowu zawitałem do Europy, — trafiłem na chwilę uroczystości Bismarckowskich. Postanowiłem być u niego i byłem. To co słyszałem — opowiadam.

Oddałem oddźwiernemu kartę moją i czekałem, rozmyślając nad tem: czy mię przyjmie, czy nie?

Ku wielkiemu zdziwieniu zaproszono mię natychmiast prawie do gabinetu księcia. Ledwie służący drzwi przedemną otworzył i na progu stanąłem, ujrzałem jak od biurka podniosła się olbrzymia postać ex-kanclerza. Był ubrany w mundur wojskowy, zapięty na wszystkie guziki. Jednym rzutem oka objąłem całą jego postać. Wyglądał jak dąb rozłożysty. Widać było, że w tym kadłubie, potężnym i wielkim, jak beczka od piwa, i rozrosłem jak cielsko hipopotama, siedzi niespożyta siła fizyczna. Wielka łysa głowa, krzaczyste brwi, wąsy jak u suma, — szare, przenikliwe, badawcze, z odcieniem złości błyskające oczy — wszystko u niego było niezwykłe. Powstawszy, oparł się obiema rękoma o biurko i spojrzenie we mnie utopił.

— John Murray? — zapytał.

— Tak jest, Excellencyo.

Bismark fotel raptownie odsunął, tak, że zdało mi się, jakby się dom walił, i ku mnie rękę wyciągnął.

— Jakże rad jestem... przypominasz mi pan piękne chwile naszej młodości.

— Dawne czasy, Excellencyo.

— Dawne... — odrzekł westchnąwszy.

Przyprowadził mię do fotelu, posadził i sam obok mnie usiadł.

— Pan podróżujesz zapewne, jak niegdyś?

— Podróżuję, Excellencyo... Czułem się w obowiązku przypomnieć się Waszej Excellencyi.

Nagle ujrzałem, że na ustach jego przesunął się uśmiech.

— Pamiętasz pan nasze rozmowy? — zapytał.

— O, pamiętam.

— Niemcy są złączone... — rzekł z dumą, jakby pragnął przypomnieć mi treść rozmów i dyskusyi z przed wielu laty.

— Więcej nawet — odpowiedziałem, — bo zdołałeś Wasza Excellencya do państwa zjednoczonego przykuć dużo Słowian... tj. rozszerzyć niemieckość.

Odpowiedź moja zastanowiła księcia.

— Trudna rada... — rzekł stanowczo — dla nich jedno tylko pozostaje: Stać się Niemcami lub Moskalami jak najrychlej.

— Wasza Excellencya o Polakach myślisz?

— Tak jest.

Nagle twarz jego przybrała inny wyraz — jakiś lisi, przebiegły; siwe oczki uśmiechały się złośliwie.

— Pan może masz zamiar ogłosić interwiew ze mną? — zapytał.

— O, nie! — odpowiedziałem. Miałem na myśli powitać tylko Waszą Excellencyą jako dawnego znajomego.

— Tem lepiej... tem lepiej... bo możemy mówić otwarcie.

Widocznie sprawiło mu to pewną ulgę. Wyciągnął rękę, pudełko z cygarami wziął i do mnie zbliżył z uprzejmem pochyleniem głowy.

— Excellencyi nie szkodzi tytoń?

— Ja palę namiętnie... ale wolę fajkę.

Zadzwonił na służącego, który mu fajkę na długim cybuchu nałożył i podał. Książę palić począł z pewnem zadowoleniem. Wśród kłębów dymu zagrzmiał głos jego.

— Interwiewy zapowiedziane nużą mnie — rzekł. Muszę ciągle pilnować się, ażeby jak najlepiej myśli moje ukryć.

— Wdzięczny jestem za zaufanie, jakiem mnie W. E. obdarza...

— Pan nie bawisz się w politykę i nie robisz polityki... — prawda?

— O, nie.

— Dla tego też z panem mogę mówić otwarcie, jak z dawnym przyjacielem.

— Dziękuję W. Ks. M. Ja też niczem innem nie jestem, jak tylko ciekawym człowiekiem. Przyznać się muszę, że mię interesują bieżące sprawy w wysokim stopniu... Naprzykład teraz — o Polakach znowu cała Europa mówi....

— O Polakach! — wykrzyknął Bismarck.

Zastanowił mnie ton wykrzykniku, pełen głębokiego lekceważenia.

— Czy W. E. przypuszcza, że oni nie mają przyszłości przed sobą?

— Stanowczo nie twierdzę... — ale — to naród bardzo miękki i bardzo lekkomyślny — rzekł po chwili.

— Cóż to może mieć wspólnego z politycznem istnieniem?

— Ma — bardzo wiele. W tem są ich wady i zalety. Zalety — towarzyskie, wady — publiczne.

Przyznam się, że nie byłem w stanie zrozumieć tych zarzutów. Przedstawiały mi się one jako synteza myśli Bismarcka o Polakach. Wolałbym analizę. Spostrzegłem, że książę na kieł wziął słowa moje, a znałem go z tej strony, że jeżeli coś ma na wątróbce, to wygadać musi. Milczałem więc dyskretnie — i nie pomyliłem się. Po chwili milczenia książę znowu głos zabrał.

— To dziwny naród... tworzył niegdyś jedno z największych państw Europy, a nie zdołał dotychczas wyrobić w sobie godności, dumy narodowej. Dopóki będzie tego pozbawiony — nie ma dla niego przyszłości.

— Dla czego? — spytałem zdziwiony.

— Bo go każdy zwycięży i okiełzna; albo grzecznością i pochlebstwem, albo siłą i knutem.

Dziwnie mi się zrobiło od tych słów, bo zdało mi się, że zrozumiałem politykę Prus i Moskwy. Wszyscy dążą do jednego celu — do zabicia tego narodu, — tylko różnemi drogami. — Zaiste, pomyślałem sobie — polityka godna Machiawella. Spodlić i unicestwić, albo zgnębić i unicestwić — oto są dwa bieguny tej polityki. Opanowała mnie gorąca żądza sprawdzenia, o ile rzeczywiście domysły moje mogą być słuszne.

Milczałem. Bismarck rzucił na mnie bystre spojrzenie i odgadnął powody mego milczenia.

— Nie wierzysz pan, że tak jest?

— Trudno wierzyć, Excellencyo, szczególnie, gdy się tyle słyszy ustawicznie o dumie narodowej Polaków.

— Maleńkie nieporozumienie — zauważył złośliwie Bismarck — to, co nazywają dumą, jest tylko pychą ludzi próżnych. Duma nie ustępuje — pycha jest tchórzem podszytą.

Nikt o indyku, który chodzi nadęty po dziedzińcu nie mówi, że jest dumnym; podnieś pan tylko kij do góry — wnet przekonasz się, co ta duma warta. Taką jest duma Polaków teraźniejszych. Oni są próżni po prostu.

— Jakże to sobie wytłomaczyć, że są tak dzielnymi mężami stanu w Austryi?

— Próżność z rozumem chodzi często w parze. Ale dumny człowiek będzie pracować dla własnego narodu lub zginie marnie, gdy nie napotka uczciwych warunków dla

---

Scena X.

Ostrzyński i Ruszszewski.

OSTRZYŃSKI.

Nam starym tam nie spieszno. Nie mam pociągu do Kneippowania.

RUSZCZEWSKI.

Lepiej, że się zmoczą, niż w karty resztki przegrają.

OSTRZYŃSKI.

Oj! prawda. Leski się obłowił, a Karol płacze.

RUSZCZEWSKI.

Co? znowu przegrał?

OSTRZYŃSKI.

Grubo, mości dobrodzieju; tam padło kilkanaście tysięcy.

RUSZRZEWSKI.

Niepoprawny! (*ogląda się trwożnie*). Nie chcę nic mówić, ale to źle się skończy.

OSTRZYŃSKI.

Jakto?

RUSZCZEWSKI.

Mówię Panu: źle! Ze wsi wyleci. Giełda mu poderżnęła gardło, a Leski dorżnął do reszty.

OSTRZYŃSKI.

To niepodobno! Klucz Karłowicki jest perłą całego powiatu.... Zresztą stary ma kapitały.

RUSZCZEWSKI.

Pi.... pi... stary....

OSTRZYŃSKI.

Wybory za pasem, a bez pieniędzy — klapa. Trzeba maślić, agitować, bibki wyprawiać, wspierać instytucye narodowe... tak, tak; darmo nic nie ma na świecie, a kto smaruje, ten jedzie.

RUSZCZEWSKI.

To źle, bardzo źle, ale będzie jeszcze gorzej. Czas trumnę stalować.

OSTRZYŃSKI.

No! no! ten pesymizm w pańskich ustach dziwnie się słyszy. Przecież u Wareckich dobrze, jak u Pana Boga za piecem.

RUSZCZEWSKI.

Dobrze?.., oczywiście! (*ogląda się* ja przecież nic nie powiedziałem.

OSTRZYŃSKI.

A sukcesyjko po zmarłym braciszku też pewnie skapnie?

RUSZCZEWSKI.

Golizna, panie, golizna.

OSTRZYŃSKI.

Ej, nie wierzę. Na stare lata kupi się wioszczynę i będzie się panem, całą gębą panem. Oblejemy jeszcze nowe ognisko.., perełki, hungaricum, to lubię.

RUSZCZEWSKI.

Oj! oblejemy ognisko, ale nie moje. Co raz przepadnie, to się już nie wróci. Smutek i utrapienie, — te wracają, ale szczęście, nie, nie, panie redaktorze... No! nie rozczulajmy się. Chodźmy za młodymi.

OSTRZYNSKI.

Chodźmy! a trzeba fagasowi powiedzieć, żeby nam tam kapkę przyniósł. Tak w chłodzie, nad wodą to się gładko pije. (*Zwracają się ku drzwiom.*)

RUSZCZEWSKI (*we drzwiach.*)

Coś się na burzę zanosi.

OSTRZYŃSKI.

Prawda. Niebo zachmurzone! Błyska się. Zerwie się wicher i potopią się jeszcze.

RUSZCZEWSKI.

Chodźmy! zatrąbimy do odwrotu (*wychodzą drzwiami frontowemi, po chwili wchodzi ostrożnie przez drzwi na lewo Marta.*)

(Ciąg dalszy nastąpi).

pracy; próżny będzie z czystem sumieniem pracować dla innych w tem przekonaniu, że dla swoich pracuje. Możnaby takich ludzi porównać do psów, które, wesoło poszczękując, ciągną na targ cudze wózki z mlekiem lub mięsem.

— Wasza Excellencya bardzo surowy wyrok na Polaków wydajesz.

Bismarck nie oponował, tylko z pewną siłą i zacięciem w głosie odrzekł:

— Znam ich.

Zamyślił się, brwi nasunął i począł namiętnie fajkę ciągnąć. Miałem takie wrażenie, że myśli skupia i mówić wnet zacznie. Jakoż tak się stało.

— Polskich mężów stanu porównałbym do niewolników i wyzwoleńców w epoce upadającego Rzymu. Byli pośród nich genialni ludzie — pisarze, poeci, doradzcy, ale im brakło dumy i siły wolnych ludzi, lub też ludzi, miłujących wolność. Im wystarczało bogactwo, używanie, łaska pańska — lgnęli więc do stóp Kaliguli, Tyberyusza, Nerona i ślady ich obuwia całowali. Czy Polacy inaczej robią? Gwałtem, przemocą, przez szeregi takich samych, jak oni niewolników, cisną się do pocałowania tej ręki, która ich policzkuje, i mówią, że to robią dla dobra narodu... chociaż robią dla tego tylko, ażeby mogli do końca życia przy pełnej misie siedzieć — oni i synowie ich. Podnoszą hasła lojalnej, cichej pracy i w imię tego hasła liżą rękę pańską ci wszyscy, których praca polega na spokojnem spożywaniu pracy innych — ubogich, głodnych, ciemnych. Oni w obronie misy, zwłaszcza pełnej, staną zawsze, — w obronie praw — nigdy.

— A przecież — przerwałem Bismarckowi — powstania polskie są próbą obrony praw.

Przeczenie moje zdawało się jeszcze więcej podniecać go.

— Tak, tak — rzekł, — ale potem znalazło się zawsze grono spokojnych obywateli, ktorzy te usiłowania oplwali, a z dowodzeń ich i napaści łatwo dała się wyciągnąć nauka moralna: „Pocóż gonić za marą wolności i w niewoli może być wygodnie“.

Bismarck znowu namiętnie palić począł.

To naród pełen sprzeczności — ciągnął dalej — proszę tylko uważać: Arcybiskup Popiel gospodaruje jak urzędnik moskiewski, a naród pokornie chyli przed nim czoło. Dawniej, według bajecznej historyi Polaków, takich Popiélów przynajmniej myszy jadły, teraz — będą tuczyć się spokojnie, byleby spokojnie, bo niepokój trawieniu szkodzi. Panowie Górscy, Lubomirscy et tutti quanti, ledwie car umarł, do praszają się jak o łaskę o pozwolenie pocałowania tej ręki, która ich biła, w imieniu narodu. Koło polskie w Wiedniu z grzeczności i z polityki słucha detyrambów jakiegoś Czecha na cześć tego, który nawet prawa ludzkie polakom odebrał — nic dziwnego, skoro na czele reprezentacyi kraju, stoją tacy jak Zaleski. Wszędzie naród na czoło swojej reprezentacyi wysuwa najlepszych ludzi, oni — najpokorniejszych. Jakąż przyszłość taki naród mieć może przed sobą? Żadnej! Dla jawnych, płaszczących się niewolników można mieć litość, ale szacunku — nigdy.

— Wasza Książęca Mość zdaje się masz w tej chwili na myśli Polaków tylko z Galicyi i reprezentacyę ich we Wiedniu?

— Wszędzie oni jednakowi. To rasa słaba, miękka, podatna jak ośrodek chleba. Można nim głodnego nasycić, ale nikt chleba do budowy gmachu nie używa. I w Prusiech dzieje się to samo. Próżność rozpiera ich wszędzie i rozsadzi z czasem jak młoda koniczyna brzuchy wołowe. Trzeba im tylko takiej koniczyny jak najwięcej dodawać. Rosya niegdyś miała największych przyjaciół, którzy się nazywali Targowiczanami; oni trzy czwarte Polski oddali w ręce Moskwie — za nadzieję, dzięki tylko temu, że Moskwa potrafiła ich próżność wyzyskać. Teraz utworzyła się w Austryi i u nas pewna odmiana dawnych Targowiczan, których nazwano Stańczykami. Oni to, dzięki godłu hyperlojalnej pracy i zgody z istniejącym porządkiem rzeczy d z i ś — oddają bez zastrzeżeń p r z y s z ł o ś ć swego narodu w nasze ręce. Polakom można odebrać wolność, prawo, język w sądzie i urzędzie, zgnieść ich literaturę, kazać się uczyć nie w rodzinnym, lecz obcym języku i pracę umysłu i ducha nie własnemu narodowi, lecz do cudzej składać skarbnicy — wszystko to przyjmą słowami „jakoś to będzie“, pocieszając się garścią tytułów i karmelkowych koncesyi.

W słowach Bismarcka przebijała zjadliwa ironia.

— W Rosyi p o t r z e b n i Górscy, Lubomirscy, Czertwertyńscy, Radziwiłłowie, Woronieccy, Baranowscy, w Austryi — Tarnowscy, Potoccy, u nas — Kościelscy. Im się zdaje, że są przewodnikami narodu, mężami zaufania cesarza, wielkimi politykami, a oni są manekinami.

— Wasza Excellencya w tak czarnych kolorach przedstawia Polaków, że lituję się nad nimi. Gdyby tak było w istocie, byłby to jeden z najnieszczęśliwszych narodów na kuli ziemskiej.

— Tak jest. Oni idą do zguby, bo ich mężowie stanu i reprezentanci, uprawiają taką politykę, jaką przed tysiącem lat ich przodkowie uprawiali.

— Jaką? — spytałem mimowoli.

Bismark nic nie odpowiedział, tylko porwał się gwałtownie z fotelu i do drugiego pokoju wybiegł. Szeroko otwarte drzwi pozwoliły mi widzieć bibliotekę księcia. Książę zbliżył się do półki, ujął pewną ręką jakąś książkę i do mnie wrócił. Usiadł w milczeniu i począł kartki przewracać.

— Zaraz pana przekonam o tem — rzekł.

Skłoniłem głowę na znak zgody.

Równocześnie będzie to odpowiedź tym. którzy utrzymują, jak Delbrük, że komisya kolonizacyjna nie przynosi żadnego poważnego rezultatu. Oni pragnęliby — dodał złośliwie — ażeby wielkie dzieło dokonało się tak rychło jak sprzedaż cygara, z rąk do rąk, w jednej chwili.

Bardzo mię Wasza Książęca Mość zaciekawiasz.

Spojrzałem na okładkę książki — była o „Kronika Helmolda“.

Bismarck czytać począł.

„Morze to (Baltyckie) nazywa się barbarzyńskiem albo scytyjskiem, dla tego, że kraje barbarzyńców oblewa. Koło tego morza mieszka wiele narodów, z tych Duńczycy i Szwedzi, których Normanami nazywamy, zamieszkują brzeg p ó ł n o c n y, brzeg zaś p o ł u d n i o w y z a m i e s z k u j ą l u d y s ł o w i a ń s k i e.

Tu na karcie rękę swoją olbrzymią położył, wpatrzył się we mnie i zapytał ostro:

— Gdzież ci Słowianie teraz?

Nie mogłem mu dać żadnej odpowiedzi. Książę ciągnął dalej:

— Nietylko tworzyli oni całą dyecezyę Hammenburgską, lecz sięgali za Elbę, do najdalszego zakątka Saksonii, zwanego niegdyś Nordelbingią — gdzie są tam Słowianie?

Książę karty „Kroniki“ przewracać począł.

— Teraz powiem panu dla czego ich tam nie ma. Kiedy Słowianie, niezadowoleni z książąt swoich, będących w usługach Niemców, zabili Godszalka, syn jego tak przemawiał do księcia Magnusa: „Wiadomo jest Twojej Jasności, o największy z ludzi, jak wiernie zawsze ojciec mój Godszalk poruczone rządy w kraju słowiańskim na cześć Boga i dziada twego sprawował. Ja też, ojca mego naśladując, pokornie, z całą wiernością i oddaniem się poleceniom książąt byłem posłusznym...“

Bismarck książkę odsunął i na mnie patrzył.

— Gdzie ci Słowianie? zapytał znowu. Dokąd ich pokora i giętkość zaprowadziły? Gdzie owi Wagrowie, Obotryci, Kiszanie? Nie ma ich — dla czego? Bo przedstawiciele ich z wolnych książąt zeszli do roli sług książąt niemieckich; bo kłócąc się i walcząc ze sobą

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.*)

NOWELA.

Tłom. z orginału M. W.

II.

Dobry koń zruszył z miejsca lekko poskrzypujące sanie i pomknął żwawo naprzód po utartej drodze.

— A tyś tu poco? Nikito, daj mi bata na niego! — zawołał Brechunow, widocznie zadowolony z synka, który umieścił się z tyłu na płozach. — Już ja ci wsypię! Wracaj do matki, smarkaczu!

Chłopak zeskoczył na drogę. Gniadosz przyspieszył biegu, a potem puścił się kłusa.

Kresty, przysiołek, w którym Brechunow miał swoją posiadłość, liczyły sześciu gospodarzy i nasi podróżni, minąwszy zabudowania ostatniego z nich, kowala, przekonali się, że wiatr był daleko silniejszy, niż im się zdawało. Drogi nie można było prawie dojrzeć. Ślad, jaki pozostawiały za sobą, sam zacierał się niezwłocznie i gościniec tem się tylko odznaczał, że był wyższy od reszty gruntu. Tumany śniegu kręciły się w polu, a linja, w której się niebo zlewa z ziemią, znikła całkowicie. Sąsiedni las, zwykle wyraźny dla oka, teraz zaledwie czerniał z poza śnieżnej przesłony. Wiatr dął z lewej strony i zwiewając uporczywie na jeden bok grzywę z wygiętej, pełnej szyji gniadosza odgarniał nadto w stronę ogon jego w węzeł związany i przyklejał do twarzy i nosa Nikicie, siedzącemu od strony wiatru, długi kołnierz kaftana.

— Śnieg nie pozwala dziś gniadoszowi rozpędzić się należycie — zauważył Brechunow, dumny ze swego konia — ale kiedyś gdym jechał do Paszutina, w pół godziny mię tam zawiózł.

— Co mówicie?

— Do Paszutina, mówię, w pół godziny mię zawiózł.

— Dobry konik, ani słowa — przytwierdził Nikita. Umilkli obaj, ale Brechunow okazywał widoczną chęć do dalszej rozmowy.

No i jakże tam, musiałeś, jak sądzę, upominać i swoją gospodynię, aby bednarzowi nie dawała zbyt wiele wódki? — mówił po chwili, będąc tak głęboko przekonany, że rozmowa z tak niepospolitym i mądrym, jak on, człowiekiem powinna pochlebiać Nikicie i czując tak szczerze zadowolenie z własnego dowcipu, że na myśl mu nawet nie przychodziło, aby to, co mówił, mogło dotknąć parobka.

Nikita znowu nie zrozumiał, o co chodzi, bo prąd wiatru unosił dźwięki głosu i Brechunow powtórzył głośno i wyraźnie swój żart.

— Bóg z nimi, gospodarzu, nie wtrącam się — jak wiecie — do ich spraw. Aby tylko Marta syna nie krzywdziła, a po za tem niech sobie robi, co jej się podoba.

— To dobrze — zauważył Brechunow. A konia masz zamiar kupić na wiosnę? — zapytał, rozpoczynając z nowej beczki rozmowę.

— Najniezawodniej — odparła Nikita, odwijając kołnierz i pochylając się w stronę gospodarza.

Rozmowa zaczynała być dlań zajmującą i dlatego chciał teraz słyszeć każde jej słowo.

— Syn dorasta, powinien więc sam brać się do órki, dotąd najmowaliśmy obcych — dodał w formie wyjaśnienia.

— Wiesz co, kup mego srokacza, drogo cenić nie będę! — zawołał na całe gardło. Brechunow, rozgrzany trunkiem i dla tego tem chętniej wracający do sprawy, która była ulubionem jego zajęciem i pochłaniała całą jego istotę — do handlu.

— A gdybyście mi dali tak z piętnaście rubli, tobym sobie kupił szkapinę na końskim jarmarku — odparł Nikita. Wiedział on doskonale, że koń, którego mu stręczył gospodarz, wart był najwyżej ośm rubli, że jednak Brechunow potrąci mu za niego dwadzieścia pięć i że w takim razie przez pół roku nie będzie pobierał ani grosza pensyi.

— Wyśmienity koń. Życzę ci tak szczerze, jak samemu sobie. Na sumienie! Brechu-

wzywali do robienia zgody tego, który wyzyskiwał niezgodę; bo zbyt często schylali głowę, a schylonych biją tylko. Pokora jest dobrym środkiem do zbawienia duszy, ale państwa i narodu nie zbawiła jeszcze nigdy.

Wysłuchawszy tego uważnie, spytałem:

— Niech mi Wasza Ekscellencya wytłomaczy w jakim to związku stać może z kolonizacyą?

— W bardzo prostym. Moglibyśmy się zupełnie bez przymusowej kolonizacyi obyć, bo Polacy, odziedziczywszy po przodkach swoich wady narodowe, dopomagają nam do niszczenia samych siebie, idąc na rękę polityce, przeciwko nim skierowanej. Wobec jednak mogących zajść wypadków nieprzewidzianych, spieszyć się należy z nabyciem u Polaków ziemi; tam gdzie nie można odebrać, — kupić trzeba. Co to znaczy wydać 14 milionów marek w ciągu ośmiu lat wobec tego, że za sto lat nie będzie Polaków w Prusiech?!

— Wasza Ekscellencya — rzekłem, o ile mogłem, najspokojniej — nie bierzesz, zdaje się, w rachubę tego, że ta warstwa społeczna, która dotyczas ster polskich interesów dzierżyła, schodzi z pola; że przybywają coraz liczniej nowe zastępy z ludu, mieszczaństwa, intelligencyi, którzy na politykę „zgody z losem“ nie godzą się, walczą z nią i z czasem przyjść mogą do władzy.

Bismarck w zamyśleniu ciągnął dym z fajki i wąsami ruszał, a potem zwrócony do mnie, rzekł spokojnie:

— Mój kochany panie John Murray, państwo pruskie pracuje usilnie nad tem, ażeby z chwilą, kiedy dziś przodująca warstwa społeczna polska z pola ustąpi, pozostało Polaków tyle tylko ile jest Serbów w Łużycach.

Zamilkł i badał wrażenie, jakie na mnie mowa jego zrobiła

Po chwili, głęboko wzruszony, pożegnałem wielkiego Prusaka. Wracałem do domu powoli, zamyślony nad tą polityką, którą się prowadzi w celu zniszczenia, zubożenia i spodlenia całego narodu. Czyż na to wszystkie wysiłki cywilizacyjne służyć mają, ażeby silne państwa i narody zjadać mogły słabe jak dzikie zwierzęta? Na to istnieć mają władza, siła, nauka, sztuka, wszystko, co ludzkość zdobywała w trudzie i znoju, ażeby jedni przerabiali drugich na niewolników i prowadzili do spodlenia?

O, wielka cywilizacyo europejska, jakżeś ty mała, jak mała!

Przełożył z angielskiego

Fr. Rawita.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Pod tytułem „Orgje antipolskie na Warmii“ donosi „G a z e t a T o r u ń s k a“ (Nr. 92):

„W Prusiech Zach. i w Poznańskiem wielbiciele ks. Bismarka zaaranżowali spółkę KHT., w której na wielką skalę uprawiają hecę antipolską. Na Warmię sławetna spółka dotąd nie dotarła, ale wyręcza ją tam skutecznie spółka utworzona na zabicie „Gazety Olsztyńskiej“ przez antipolskie pisemko w języku polskim p. t. „Warmiak“.

Patronowie papierowego „Warmiaka“, których jest podobno nie wiele więcej nad pół tuzina, to święci osobliwego nabożeństwa. Kiedy nawet Papież tylko w rzeczach wiary i obyczaju, orzekając „ex cathedra“, jest nieomylnym, to tym „mędrcom“ zdaje się, że ich zdanie wszyscy podzielać obowiązani. Wyrobili oni sobie też jakąś warmińską ojczyznę, którą odgrodzićby chcieli od innych ziem polskich chińskim murem. Każdego Polaka z innych stron, który się poważy postawić nogę na ziemi warmińskiej i zachować własne zdanie, choćby to był ksiądz katolicki, uważają za intruza i zwalczają wszelką mniej lub więcej godziwą bronią. Rozpościeranie się Niemców, choćby przybyli wprost z Kamerunu, podobno wcale gwardyi papierowego „Warmiaka“ nie niepokoi — bo niemieccy przybysze cieszą się opieką rządu, a na łasce tego zbawcom warmińskiej ojczyzny oczywiście wielce zależy, gdyż łaska rządu może się objawić w formie brzęczącej lub szeleszczącej. Walka z polskim ruchem narodowym to dziś bardzo dobry geszeft dla wszystkich karyerowiczów. Popierając tę walkę niejedno zero moralne lub przynajmniej intelektualne wyszło już na wielkiego człowieka, kiedy wytrwała obrona polskości daje tylko wewnętrzne zadowolenie, a to sybarytom nie wystarcza. Rozumiemy przeto, że ludzie niezdolni wznieść się na wyżyny ideału, chętnie przykładają ręki, aby od pnia ojczystego odciąć tak piękną gałąź, jaką jest polska Warmia

—

„G a z e t a G r u d z i ą d z k a“, wojująca nader energicznie z antipolską spółką K. H. T. poświęca w Nr. 48 obozowny artykuł niebezpiecznej działalności wielkiego stowarzyszenia i między innemi tak pisze:

„Walka, którą nam spółka KHT wydała, jest skierowana przeciwko naszemu bytowi materyalnemu, należy nam więc też koniecznie zastosować odpowiednie środki obrony, a jednym z najskuteczniejszych jest bezwarunkowo bezwzględne popieranie wszystkiego co swojskie. Niech każdy z nas pamięta, że ten okrada naród swój, który grosze polskie zanosi do obcoplemieńca. „A biada mianowicie temu, któryby zanosił grosze swoje do członka Tow. KHT.“

—

Z powodu zebrań zwołanych w Poznaniu w sprawie „Ustawy przewrotowej“ i rezolucyi powziętych takie wypowiada opinje „O r ę d o w n i k“ w Nr. 92:

„W Poznaniu odbyły się dwa zebrania, pierwsze partyi dworskiej, drugie ruchu ludowego i na obu zebraniach uchwalono po dwie rezolucye, z których pierwsze stanowczo oświadczyły się przeciw projektowi przewrotowemu, a drugie dwie żądają, by posłowie nasi odstąpili od praktyki otaczania swych obrad i uchwał absolutną tajemniczością. Na zebraniu partyi dworskiej zaszło przy tem to, że zwolennikom „Przeglądu Pozn.“, choć byli w mniejszości, udało się jednak obie te rezolucye przeprowadzić.

Przeciw tym rezolucyom i tym zebraniom wystąpił post festum — tylko jeden „Kuryer“ w sobie właściwy i powszechnie znany sposób, czepiając się osobistości i usiłując obniżyć wartość tych dwóch publicznych manifestacyi. Możnaby to pominąć, ile że do podobnych występów „Kuryera“ za nadto świat przyzwyczajony, gdyby nie ta okoliczność, że „Kuryer“ jest — organem duchowieństwa.

Odezwanie się „Kuryera“ z powodu tych dwóch zebrań i uchwał na nich zapadłych, musi nasuwać pytanie: czy to odezwanie jest tylko objawem osobistej sympatyi i antipatyi jego redaktorów, czy też wyrazem naszego duchowieństwa; czy też może mu z jakiej strony dano w tym kierunku polecenie?

Projekt rządowy obchodzi niewątpliwie żywo nietylko nasze świeckie społeczeństwo, ale także nasze duchowieństwo, mianowicie po zmianach projektu zaprowadzonych w komisyi przez Centrum. Duchowieństwo ma prawo i obowiązek wypowiadać swą opinią o projekcie, i czy to, co „Kuryer“ napisał o obu zebraniach, mamy uważać za opinią duchowieństwa; czy z tych śmiechów i szyderstw „Kuryerowych“ mamy sądzić o opinii duchowieństwa w sprawie projektu i przypuszczać, że duchowieństwo może całe, może tylko w pewnej części jest usposobione za projektem, podczas kiedy według wszelkiego prawdopodobieństwa większa część narodu jest przeciwko niemu?“

—

„G a z e t a O l s z t y ń s k a“ donosi, że redaktora jej p. Pieniężnego

wykluczono z kat. Towarzystwa ludowego, a to dla tego, że p. Pieniężny należał do kat. Towarzystwa Zgoda, które, jak twierdzi ks. dr. Gigalski prezes kat. Towarzystwa ludowego, ma więcej narodowo-polskie niż katolickie cele. Ksiądz dr. Gigalski nie chce mieć nic wspólnego z celami narodowo-polskiemi i tak też napisał p. Pieniężnemu w liście, w którym go zawiadomił o jego wykluczeniu.“

—

Z Bydgoszczy piszą do „D z i e n n i k a K u j a w s k i e g o“:

„Jak wszędzie, tak i u nas w Bydgoszczy zajmuje żywo nasze umysły postępowanie naszych posłów w Berlinie. Obadwa polskie stronnictwa bydgoskie godzą się na to, że przedewszystkiem nasi deputowani powinni jak najczęściej przebywać w Berlinie a nie dojeżdżać tylko chwilowo. Niedawno podczas głosowania w parlamencie, gdy chodziło o powiększenie floty, było na 19 posłów tylko 2 Polaków obecnych. Uniewinnia to poniekąd, że posłowie w parlamencie muszą żyć o własnym koszcie, ale inna rzecz co do deputowanych sejmu pruskiego, którzy dostają dziennie po 15 marek, a jednak często miejsca polskiej frakcyi w Izbie świecą pustkami.

Jeżeli nie można wybrać stosownych posłów z inteligencyi, czemuż nie szukać ich w innych warstwach? Niejeden z nauczycieli, kupców i gospodarzy włościańskich byłby cennym nabytkiem dla Koła polskiego. Nie chodzi przecież o to, aby wszyscy przemawiali w Izbie sejmowej, gdyż nierównie ważne są obrady na posiedzeniach Koła polskiego. Wszakże mieliśmy i mamy posłów Polaków, którzy na plenarnych posiedzeniach nigdy się nie odzywali, a jednak ich wybieramy. W tym względzie mogą nam za wzór posłużyć polscy Ślązacy“.

---

now nigdy i nikogo nie skrzywdzi. Wolę stokroć sam stracić nie tak jak inni. Na honor — wołał Brechunow właściwym sobie tonem, którym umiał wyprowadzać w pole zarówno sprzedających, jak kupujących. — Wyborny koń.

Wasza prawda, gospodarzu — zgodził się Nikita z westchnieniem i widząc, że dalej słuchać nie ma czego, wypuścił z ręki kołnierz, który mu zasłonił natychmiast ucho i twarz.

Jechali z jakie pół godziny w milczeniu. Wiatr przeszywał Nikicie na wskroś bok i rękę w tem miejscu, gdzie kożuch był rozpruty. Parobek kurczył się i chuchał w kołnierz, zasłaniający mu usta, wyobrażając sobie, że ciepły oddech grzeje mu ciało.

— Jak sądzisz, czy lepiej jechać na Karamyszewo, czy prosto? — zapytał Brechunow.

Na Karamyszewo prowadziła droga lepsza, wprawdzie wyznaczona starannie dwoma rzędami powbijanych w śnieg sporych drzewek — ale dalsza; prosta droga była bliższa, ale mniej utarta i zaledwie gdzieniegdzie oznaczona lichemi, śniegiem zamiecionemi tyczkami.

Nikita namyślał się przez chwilę.

— Na Karamyszewo wprawdzie dalej, ale raźniej nam będzie jechać tamtędy, — oświadczył po namyśle.

— Ależ i prosto jadąc, bylebyśmy minęli, nie błądząc, dolinę, dalej drogę mieć będziemy wyborną — odparł Brechunow, który wolał wcześniej stanąć na miejscu.

Wola wasza — odpowiedział Nikita, wypuszczając znowu z ręki kołnierz.

Brechunow skierował konia na krótszą drogę i ujechawszy pół wiorsty, skręcił na lewo od wysokiej, szarpanej wiatrem wiechy dębowej, której się trzymał jeszcze gdzie niegdzie zeschły liść.

Odtąd wiatr mieli w oczy, a z góry śnieg zaczął sypać. Brechunow powoził, nadymając policzki i puszczając oddech w górę, na wąsy. Nikita drzemał.

Jechali tak minut dziesięć w milczeniu, które przerwał Brechunow nagłem odezwaniem się.

— Co się stało? — zapytał Nikita, otwierając oczy.

Gospodarz nie odpowiadał, lecz pilnie rozglądał się dokoła. Koń, którego sierść zaczynała się fryzować od potu na szyi i w pachwinach, szedł stępa.

— Co się stało? — powtórzył Nikita.

— Co się stało? co się stało? — przedrzeźniał go Brechunow gniewnie. — Znaków nie widać. Zbłądziliśmy prawdopodobnie.

— Konia wstrzymajcie, pójdę drogi poszukać — rzekł Nikita, zwinnie wyskakując z sanek, poczem wydostał but z pod słomy i odszedł na lewo, od strony z której siedział.

Śnieg był tej zimy niegłęboki, można więc było iść w dowolnym kierunku, w niektórych wszelako miejscach sięgał kolan i wsypywał się Nikicie do butów. Nikita chodził, tupał nogami, próbował butem, ale nadaremnie.

— No i cóż? — zagadnął Brechunow, gdy parobek zbliżył się do sani.

— Z tej strony drogi nie ma. Spróbuję z tamtej poszukać.

— Hen tam przed nami coś czernieje, pójdźno zobaczyć co to takiego.

Nikita zbliżył się do czerniejącego punktu, ale była to tylko ziemia, którą wiatr zwiał z odsłoniętych zagonów oziminy, zabarwiając nią śnieg na czarno.

Po bezowocnych poszukiwaniach i z prawej strony, Nikita wrócił do sanek, otrzepał śnieg z ubrania, wytrząsł go z butów i usiadł na dawnem miejscu.

— Na prawo trzeba jechać — oświadczył stanowczo. — Wpierw miałem wiatr z lewej strony, a teraz w oczy. Zawracaj w prawo!

Brechunow usłuchał i skręcił w prawo. Ale drogi wciąż widać nie było. Jechali przez jakiś czas polem. Wiatr nie ustawał i śnieg zaczął znowu sypać.

— Ależ zbłądziliśmy, jak widać na dobre! — zawołał nagle Nikita takim akcentem, jak gdyby go to bawiło. — Spojrzyjcie-no tylko! — dodał, wskazując sterczącą z pod śniegu, zczerniałą nać kartoflaną.

Brechunow zatrzymał już spoconego i silnie robiącego bokami konia.

— Cóż stąd? — zapytał.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Pismo „Slovacz“, założone przez Czechów w celu zbohemizowania Słowaków orawskich, mieszkających na Morawie, pisze:

„Dziś już widzimy, że głównem zadaniem wiedeńskiej koalicyi parlamentarnej nie jest przeprowadzenie reformy wyborczej, ale utrzymanie status quo posiadłości niemieckich w zniemczonych miejscowościach Morawy, Orawy — oraz Śląska.

„Największem nieszczęściem Austryi jest w chwili obecnej szał germanizacyjny, któremu poświęcono jedność monarchii. Chciano przemocą to, co dała nam natura poprawić i narody całe pozbawić praw przyrodzonych. Tego jednak nie dopuszczą ruskie narodowości, choćby im przyszło wszystko, co posiadają zaryzykować. Jest wręcz niesłychanem w historyi politycznych i narodowych stronnictw, ażeby za cel sobie wybierały wynarodowienie ludów, posiadających wszystkie warunki egzystencyi.

Przed szesnastu miesiącami powstała koalicya której program obejmuje zachowanie i zabezpieczenie rabunku i kradzieży, jakiej się na ziemiach słowiańskich dopuszczono. Jeżeli n. p. w Morawie skutkiem demoralizacyi i nacisku wywieranego z góry Niemcy zdobyli sobie przewagę, to im przewaga ta miała być zagwarantowaną. Bezprawie miało stać się prawem i weszło w program rządu, który dziś tworzy koalicya. Zasada ta bywa z całą ścisłością stosowana u nas wszędzie. Jeżeli gdziekolwiek zawakuje posada, którą posiadał dawniej Czech, to Niemcy żądają zamianowania na jego miejscu swego rodaka w imię praw zagwarantowanych im koalicyą. Z większym naciskiem, grożąc zerwaniem koalicyi domagają się obsadzania Niemcami wszystkich posad ważniejszych. Usuwanie z nich Czechów stało się systemem. Na Morawie; gdzie ludność tubylcza, jest czeską, mamy wszystkich wyższych dygnitarzy Niemców.

Takie stosunki wymagają, ażebyśmy się zorganizowali do oporu. Na czele tego ruchu powinni stanąć w pierwszym rzędzie przywódzcy, a za nimi cały lud...“

* * *

„Slovański Svet“, organ Słowińców tryesteńskich rozpisuje się o stanowisku antysemitów niemieckich i stronnictwa chrześcijańsko-socyalnego względem Słowian, co następuje:

„Narodowcy niemieccy t. j. antysemici i partya chrześcijańsko-socyalna zajmuje wobec nas takie same stanowisko wrogie, jak liberałowie żydowscy. Tego dowodem najlepszym uchwała stronnictw Luegera, według której stronnictwo to głować będzie przeciw otworzeniu gimnazyum słowińskiego w Celji.

Takie same stanowisko zajęli chrześciańsko-socyalni podczas rozpraw w parlamencie, gdy się rozchodziło o subsydyum dla czeskiej szkoły Komeńskiego w Wiedniu. W tem byli zgodni z liberałami. Wobec nas idą jedni i drudzy ręka w rękę. W obecnym składzie parlamentu nie mogą Słowińcy liczyć na nikogo, tylko na Młodoczechów, jedynych obrońców ludów słowiańskich w Austryi. Mniejszym grzechem wydaje się stronnictwu chrześcijańskiemu działać razem z żydami, aniżeli z Młodoczechami.

„Nasze stronnictwo klerykalne powinno raz nabyć przekonania, że od Niemców, czy to od liberałów, czy klerykałów, nie należy się nam sprawiedliwości spodziewać.

* * *

Bułgarski dziennik opozycyjny „Sagłasije“ („Zgoda“) donosi:

„Jak naszym czytelnikom wiadomo, ogłosiliśmy dosłowny tekst rozporządzenia ministra Stoiłowa, w którem tenże nakazuje prefektowi w Piałej Slatinie, ażeby w razie okazania się większości głosów po stronie Cankowa, świece w lokalu wyborczym zagasił i zniszczył kartki wyborcze. Wiadomość tę powtórzyły za nami pisma zagraniczne. Faktowi atoli zaprzeczyła „Agence Balcanique“ dodając ze swej strony fałsz, że redakcya „Sagłasija“ wszystko odwołała.

Redakcya naszego pisma wzywała już rząd kilkakrotnie, aby w tej sprawie wytoczył śledztwo, czego atoli nie zrobiono. Gdyby śledztwo wytoczono, redakcya przed sądem udowodni prawdziwość faktu. Wzywamy czasopisma zagraniczne, ażeby sprawą tą się zajęły: równocześnie artykuł drukujemy po niemiecku i przesyłamy go redakcyom pism austryackich i węgierskich.

„Tym to sposobem wyświetli się rzecz cała i nasze stosunki opłakane, oraz wartość moralna naszych konserwatywnych rządów...“

* * *

„Srpski Glas“, wychodzący w Zadarze, w Dalmacyi, polemizuje z chorwackim „Obzorem“ w sprawie agitacyi chorwackich w Bośni wśród Serbów mahometańskich:

„W tych dniach umieścił „„Obzor““ artykuł rzekomo pochodzący z pióra Bośniaka mahometańskiego, który się mianuje Chorwatem,

„Ów Chorwat mahometański uznaje aneksyę austryacka i gniewa się na Rosyą, że jest temu przeciwna. Bośnia historycznie przynależy do Chorwacyi, Bośnia i Hercegowina są częścią królestwa chorwackiego.

„Jeżeli Rosya kraje te chce przyłączyć do Serbii, — tak pisze — to temu sprzeciwiłaby się cała ludność mahometańska. Serbia nie daje rękojmi żadnej, abyśmy mahometanie mieli równouprawnienie.

„Takie zarzuty robi mahometanin Serbom.

„Prawda, że Serbowie bili mahometan, ale bili ich walcząc za swoją wolność. Mamy w Serbii inowierców — a katolików, ale rząd nas ich nie prześladuje, owszem używają praw porówno z nami; nie inaczej obchodzonoby się z mahometanami.

„Jeżeli ów Chorwat mahometański uznaje aneksyę za rzecz godziwą, to mu tego nie bierzemy za złe, ale skąd te prawa historyczne Chorwatów do Bośni?! Rząd austryacki popiera obecnie Chorwatów na urzędach w Bośni, ale to w tym celu tylko, aby nas rozdwoić. Po Chorwatach przyjdą Niemcy i Madziarzy, aby dokonać dzieła wynarodowienia...“ *K.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z życia ekonomicznego.

(Notatki).

IV.

(Kartel właścicieli statków parowych. Syndykaty cukrownicze. Sztuczka cukrowników. Trust amerykański. Proces. Związek towarzystw kolejowych. Syndykat towarzystw kopalni węgla w nadreńskich prowincyach.)

Większe widoki powodzenia ma kartel zawiązany pomiędzy właścicielami statków parowych, przeznaczonych do holowania na Elbie. Powodem było obniżenie ceny przewozowej wskutek konkurencyi wzajemnej, która zmuszała zarówno szyprów jak właścicieli statków holowniczych do układania kontraktów bardzo niekorzystnych, byle upewnić sobie zajęcie na cały rok. Obecnie właściciele statków parowych postanowili zawierać umowy z szyprami jedynie przez biuro syndykatu, które cały transport rozłoży tak, aby każdy statek zajęty był odpowiednio. Z góry zastrzeżono, że ceny nie powinny być tak wygórowane, żeby nie uniemożliwiały transportu towarów, z których wiele może być dostarczane na rynki tylko dzięki taniemu transportowi rzecznemu. Wchodzi też w grę konkurencya dróg żelaznych. Tym sposobem 8 wielkich firm zjednoczyło w swoich rękach prawie cały handel pomiędzy górną Elbą a Hamburgiem, handel niezmiernie doniosły.

W Austryi prawodawstwo stawia dotąd tamę rozwojowi kartelów. O ten szkopuł rozbił się niedawno kartel fabrykantów krochmalu i dekstryny, jak również w roku przeszłym kartel cukrowników. Ci ostatni nie dają jednakże za wygrane i usiłują zawiązać syndykat. Wniosek odpowiedni podał baron Stummer, prezes praskiej

---

— A to, że jesteśmy aż pod Zacharjówką, Hen, gdzieśmy zajechali!

— Łżesz! — zaprzeczył Brochunow, który teraz wyrażał się już zgoła inaczej, jak w domu, mówiąc zwyczajnym, chłopskim głosem.

— Co miałbym łgać, gospodarzu, prawdę mówię — bronił się Nikita. — A toć i ze stuku sanek poznać można, że kartofliskiem jedziemy, a tam oto w kupy, złożona nać widnieje. Gorzelniane pole i tyle!

— A tośmy trafili! — biadał gospodarz. — I cóż teraz poczniemy?

— A cóżby? prosto przed siebie jechać trzeba, a z pewnością dokądkolwiek dojedziemy, jeżeli nie do Zacharówki, to na pański folwark — uspakajał Nikita gospodarza, który stósownie do jego rady konia skierował.

I znowu sunęli tak dość długo, już to trafiając na obnażone miejscami z śniegu zagony oziminy, gdzie miedze i zaspy wiatr przyprószył czarną ziemią, już mijając rozmaite ścierniska, na których poruszały się wichrem szarpane źdźbła słomy i łodygi piołunu, to znowu wjeżdżali w śnieg głęboki, ścielący się jednostajnie białą płachtą, z pod której nic już zgoła nie przezierało. Śnieg sypał z góry, a zarazem białemi kłębami zrywał się z ponad ziemi. Chwilami zdawało się jadącym, że się wspinają pod górę, lub z niej się spuszczają, to znowu mieli złudzenie, że sanie ich stoją w miejscu, a śnieżne pole umyka przed nimi. Milczeli obaj. Koń, widocznie zmęczony, ze zjeżoną i szronem okrytą sierścią, szedł stępa, gdy nagle usunął się i ugrzązł w rowie, lub jamie. Brechunow chciał go zatrzymać, ale Nikita sprzeciwił się temu.

— Po co stawać! Jak wpadliśmy, tak teraz wydostać się musimy. Wio, mały! wio rodzony! — wołał raźnie na gniadosza, zeskakując z sani i sam grzęznąc w śniegu.

Koń szarpnął i wydostał się od razu na zmarzniętą zaspę. Był to widocznie rów, ręką ludzką przekopany.

— I gdzież to jesteśmy? — pytał Brechunow.

Z czasem się dowiemy, a teraz ruszać trzeba i tyle! Dokądkolwiek dojedziemy.

— A hen tam, dalej, to już chyba goriaczkinowski las czernieje? — pytał Brechunow, wskazując ręką oddalony jakiś punkt.

— Gdy dojedziemy, to się i przekonamy las czy nie las — odparł parobek.

Nikita zauważył unoszące się w powietrzu podłużne, suche liście wierzbiny, które wiatr nawiewał z tamtej strony i stąd wnosił, że to nie las czernieje, tylko siedziba ludzka, ale mówić o tem nie chciał.

Jakoż rzeczywiście zaledwie odsunęli się na kilkadziesiąt kroków od rowu, gdy zarysowały się przed nimi wyraźnie drzewa, a w powietrzu dał się słyszeć szczególniejszy jakiś, żałosny dźwięk. Domysł Nikity sprawdzał się; był to nie las, ale szereg wysokich wierzbin z samoczącym się jeszcze na gałęziach tam i owdzie liściem. Wierzby wznosiły się prawdopodobnie nad rowem, otaczającym stodołę gminną. Koń, znalazłszy się przy ponuro jęczących z wiatrem wierzbinach, wspiął się przedniemi nogami wyżej niż sanie, poczem wygramolił się i tylnemi i przestał nagle tonąć w śniegu po kolana. Wydostał się na gościniec.

— Przyjechać, przyjechaliśmy — zauważył Nikita — ale niewiadomo dokąd.

Koń szedł nie zbaczając z kopnej drogi i dotarł wkrótce do płotu, otaczającego stodołę, z której śnieg się sypał bez przerwy. Od stodoły droga biegła pod wiatr i gniadosz ugrzązł w zaspie, ale tuż za nią ciągnął się zaułek między dwoma domami, łatwo więc było odgadnąć, że zaspa utworzyła się wśród drogi i że trzeba ją minąć. Jakoż wydostawszy się z zaspy, znaleźli się już we wsi. W pierwszem podwórzu wiatr szarpał niemiłosiernie rozwieszoną na sznurku, zmarzniętą bieliznę; dwie koszule, jedną czerwoną i jedną białą, parę spodni i onuce. Biała zwłaszcza koszula szamotała się wściekle, wywijając rękawami.

— A to ci dopiero leniwa gospodyni, a może śmiertelnie chora leży w chacie, że bieliznę z płotu nie zdjęła przed świętem — zauważył Nikita, patrząc na bujające w powietrzu koszule.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

filii wiedeńskiego związku centralnego cukrowników. Chodzi właściwie o zawiązanie dwu syndykatów. Jeden z nich ma objąć fabryki mączki i takie, które wytwarzają mączkę i rafinadę, drugi zaś obejmie same tylko rafinerye. Drugi syndykat kupuje mączkę wyłącznie od pierwszego. Fabryki mączki płacą pewną sumę od ilości przerabianych buraków, rafinerye od mączki. Sumę tę syndykat następnie rozdziela pomiędzy członków. Naturalnie ceny w sprzedaży podniosą się o tę właśnie kwotę wpłaconą przez fabryki. Syndykat normuje ilość produkcyi stósownie do zapotrzebowania i wielkości pojedyńczej fabryki. Prócz tego jeszcze każda rafinerya ogranicza się do pewnego okręgu zbytu. Cukier na wywóz składki nie opłaca, ewentualnie ma być nawet wyznaczona premia na wywóz ze strony syndykatu. Na zarzut prasy, że i tu nastąpi jak przy kartelu zwyżka cen w konsumcyi, pewien rzecznik fabrykantów „Neue freie Presse“ przyznał naiwnie, że właściwie celem syndykatu jest obniżenie ceny materyału surowego. Więc ci słodcy producenci mają zamiar chwalebny zwalić skutki kryzysu cukrowego na barki rolników. Sądzimy że i tu prawodawstwo austryackie położy veto.

Nie wiedzie się też cukrownikom w Rosyi z tak zwaną „normirówką“. Wprawdzie dzięki kartelowi zdołano utrzymać ceny bardzo wysokie, jak również obniżyć ceny buraków. Ostatni cel jak wiadomo osiągnięto przez usunięcie zupełne wzajemnej konkurencyi. Plantator zmuszony jest sprzedawać buraki tej cukrowni, do której rejonu został przypisany i po cenie przez nią wyznaczonej; inna nie ma prawa kupować od niego. Pomimo to przy wysokich cenach niektórzy producenci widzieli korzystniejsze dla siebie warunki, jeżeli wyłamią się z pod władzy kartelu i będą produkowali ponad wyznaczoną normę. Wytoczono im procesy, które naturalnie nie prędko się skończą przy znanej szybkości rosyjskiej procedury sądowej. Rezultat jest wątpliwy i wskutek tego na tegorocznych kontraktach kijowskich zawierano umowy z zastrzeżeniem, że tracą one prawomocność w razie rozchwiania się kartelu. O przebiegu sprawy nie omieszkamy poinformować czytelników po ukończeniu procesu.

Lepiej powiodło się amerykańskim producentom. Tamtejszy trust cukrowniczy walczy o lepsze z trustem wódczanym pod względem wyzysku konsumentów, gdy Standard Oil Company trzyma palmę zwycięztwa, o ile chodzi o bezwzględne niszczenie konkurentów i pod tym względem za wzór służyć może wszelkim kartelom. Główną sztuczką związku cukrowników było przeprowadzenie ustawy celnej, według której na cukier pochodzący z państw wypłacających premie wywozowe, nałożono cło dodatkowe. Przeciwko tej ustawie zaprotestował ambasador niemiecki i toczą się tu jeszcze układy dyplomatyczne. Natomiast konsumentów krajowych już teraz łupi się bez miłosierdzia a z wielkiem powodzeniem. Połowę rafineryi zamknięto podobno, a inne jeszcze ma spotkać ten sam los czasowo. Związek sprowadził bowiem olbrzymie masy mączki i zrafinował ją zanim jeszcze przeprowadzono taryfę, tak że dziś tylko przez zupełne wstrzymanie produkcyi jest w stanie utrzymać ceny. Urzędowe podwyższenie taryfy było już tylko ostatnim aktem tej olbrzymiej spekulacyi. Rozległy się wówczas głosy, że trust podejrzanemi bardzo środkami skłonił niektórych senatorów do przyjęcia korzystnej dla siebie taryfy celnej. Jak zwykle w takich razach wyznaczono komisyę parlamentarną do zbadania sprawy; komisya badała i jak zwykle nie wykryła nic. Tymczasem prokurator generalny zajął się tą sprawą w październiku członkowie trustu Henry Haremeyer, Jones Searles i makler Allon Seymour zostali oskarzeni przed sądem, ponieważ odmówili zeznań przed komisyą. Proces zakończył się niczem. Prokurator nie dał za wygrane i wytoczył trustowi drugi proces na zasadzie billu Shermana wzbraniającego związków mających na celu koalicyą handlarzy dla podniesienia cen artykułów żywności. Proces przechodził kilka instancyi i ostatecznie został rozstrzygnięty na korzyść trustu. Było to do przewidzenia, gdyż bill Shermana z dnia 2. lipca 1892 roku zabrania jedynie łączenia się korporacyi w celu ograniczenia lub kontrolowania handlu pomiędzy stanami pojedyńczemi i zagranicą. Łatwo więc było przedstawić rzecz tak, że trust jest jedynie połączeniem kilku wielkich rafineryi w celu unormowania swojej tylko produkcyi i bynajmniej nie troszczy się o handel cukrem w ogóle. A że tam „ktoś“ sprowadza na rachunek trustu olbrzymie masy cukru i tylko na tej zasadzie spekulacya była możliwą, o tem niekoniecznie sędzia wiedzieć musi, a jeżeli nie musi, to nie wie. Jest przecież sędzią amerykańskim, a jako taki jest „smard.“

Jednocześnie prawie parlament amerykański zniósł ustawę zabraniającą towarzystwom dróg żelaznych zawierać związki mające na celu podział pomiędzy siebie ruchu kolejowego lub podział zysków. Prawo to miało na celu utrzymanie wolnej konkurencyi pomiędzy kolejami. W praktyce okazało się, że rezultatem była niesłychana korupcya w stosunkach kolejowych, pomijano bowiem stale ustanowione taryfy przewozowe przez udzielanie rabatów interesentom, byle podkopać kolej konkurencyjną. To spowodowało w dalszym ciągu protegowanie jednych interesentów na niekorzyść innych. Trzeba było temu zapobiedz, dozwalając kolejom jawnie podzielić pomiędzy siebie zyski, ale też jednocześnie podnieść taryfę, która dotąd jest rujnująco nizką. Odtąd koleje będą podlegały jedynie dozorowi komisyi ruchu w transporcie pomiędzy stanami pojedyńczymi. Należy więc oczekiwać rozkwitu kartelów kolejowych.

Jeden jeszcze fakt ostatniej doby godzien zaznaczenia, fakt połączenia w jeden olbrzymi syndykat towarzystw kopalni węgla i wytwarzania koksu w nadreńskich prowincyach. Od lat kilku istnieje syndykat kopalni nadreńskich i westfalskich, produkujący około 40 milionów ton węgla kamiennego rocznie. Sprzedaż odbywa się wyłącznie przez syndykat, on wyznacza ceny, on też normuje produkcyą ,oznaczając, jaką ilość węgla każda z kopalń ma dostarczyć dla sprzedaży (większa część kopalń połączona jest z zakładami hutniczemi i produkuje w części na własne potrzeby). Znamiennym jest fakt, że od jesieni przeszłego roku pruskie koleje państwowe zawarły z syndykatem umowę na dostawę węgla w ilości 1,600,000 ton. Drugi syndykat istniejący od roku 1885 obejmował większą część koksowni w tychże prowincyach. Produkcya wynosiła w roku 1885 2,800,000 ton, w roku 1891 3,900,000 ton, w roku 1894 4,750,000 ton koksu, wartości przeszło 50 milionów marek. Teraz dwa te olbrzymie syndykaty zawarły umowę, na mocy której produkcya koksu i węgla będzie normowaną wspólnie. Syndykat węglowy obowięzuje się dostarczyć węgla potrzebnego koksowniom, natomiast nie będzie sprzedawał węgla żadnej koksowni, stojącej po za związkiem, jak również syndykat koksowy obowięzuje się nie kupować węgla od żadnej kopalni, stojącej po za syndykatem węglowym. Każdy syndykat załatwia interesy bieżące z producentami samodzielnie, jednakże regulacya cen i produkcyi odbywa się jedynie na zebraniach wspólnych obu syndykatów. Tym więc sposobem wszystkie zakłady hutnicze, walcownie i fabryki stali są zależne od syndykatów dostarczających węgiel i koks. Zakłady te są oddawna w ręku syndykatów oddzielnych, wobec czego połączenie wszystkich tych przedsiębiorstw w jeden olbrzymi syndykat jest rzeczą prawdopodobną. Stąd konsekwentnie należy wyprowadzić wniosek, że uregulowanie całej tej produkcyi podług z góry zakreślonego planu jest tylko logiczną konsekwencyą odbywającego się ruchu.

J. B, M.



KRONIKA GALICYJSKA.

(Obchód unii brzeskiej. — Wiec katolicki. — Głodomory. — Polemika o akademią. — Wyścigi i opera.)

Ciekawym probierzem przywiązania rusinów do katolickiego Kościoła będzie obchód trzechsetnej rocznicy kościelnej unii brzeskiej, naznaczony na pierwsze dni października. Główna uroczystość odbędzie się naturalnie we Lwowie. Nie ulega wątpliwości, że kler ruski chętnie czy niechętnie, przez samą lojalność i dla własnego interesu weźmie udział w jubileuszu; o udział ludu także można być spokojnym, bo lubo nie zawsze ma on dobrych pasterzy, to przecież jest przywiązanym do religii swych ojców i bez rozumowania pójdzie za odgłosem swego uczucia. Ciekawym tylko będzie, jak się zachowa inteligencya ruska, a zwłaszcza ta, która się wypiera moskalofilstwa. W obecnem położeniu wierność Kościołowi unickiemu, znaczy jednocześnie wierność narodowości ruskiej; ci rusini, co ciągną do prawosławia, wyrzekają się własnej narodowości, a choć często dla interesu mienią się lojalnymi poddanymi państwa austryackiego, to przecież skrycie wielbią carat i władcę swego widzą w Petersburgu. Gdzieindziej wiara jest rzeczą sumienia i nie rozstrzyga o narodowości; pomiędzy rusinami galicyjskiemi zaś jest identyczna z narodowością. Ztąd religijny obchód unii staje się obchodem politycznym, choćby nie wiem jak tłomaczono, że tu idzie o wiarę a nie o politykę. Dlatego też jubileusz unii postawił od razu w niemiłej sytuacyi tak zwanych świętojurców t. j. partyą staroruską, której prowodyry oficyalnie należą do Kościoła katolickiego. Cofnąć się od udziału w obchodzie, to znaczy zdemaskować się, — wziąć w nim udział, to zerwać z dotyczasową polityką, narazić się dostarczycielom rubli. Organ moskalofilski „Hałyczanin“ uderza też w wielki dzwon na trwogę, zakładając protest przeciw politycznej stronie obchodu. Tej politycznej strony w programie zupełnie nie ma, owszem, do najmniejszych szczegółów, wszystko odbędzie się na gruncie czysto kościelnym. Któż winien, że wierność lub niewierność Kościołowi unickiemu ze strony rusinów, jest dowodem ich politycznych przekonań.

Na parę miesięcy przed jubileuszem unii ma się odbyć we Lwowie drugi galicyjski Wiec katolicki; pierwszy odbył się w r. 1893 w Krakowie. Spodziewać się należy, iż urządzający wiec lwowski skorzystają z doświadczenia i nie popełnią tych omyłek, które wiecowi krakowskiemu odebrały wszelkie znaczenie. Był on zaarażowany bez żadnej znajomości rzeczy, nie wciągnięto do niego szerszych warstw, zmieniono go na popis kilku osobistości. Natworzono masę sekcyi, które jednocześnie obradowały, a więc przeszkadzały sobie; nazbierano masę referatów tak, że dyskusya nad niemi była wprost niemożliwą. Ani jednej kwestyi porządnie i wyczerpująco nie omówiono; wszystko szło dorywczo, aby tylko pospychać referaty i pochwalić się mnogością uchwał z góry już przygotowanych. Rezolucyi wszelkiego rodzaju było ze sto, jeżeli nie więcej — i żadna z nich dotychczas nie weszła w życie. A! prawda, usiłowano w „Czasie“ wykonać uchwałę wiecu, tyczącą się informowania publiczności o książkach właściwych dla dorastającej młodzieży. Ażeby rodzice wiedzieli, co mogą czytać panienki, ogłosił „Czas“ w myśl uchwały wieca katolickiego, że parę piór niewieścich podjęło się w jego łamach pomieszczać odpowiednie recenzye. I w ciągu lat dwóch były w „Czasie“ aż dwa artykuły tego rodzaju: w pierwszym z nich jakaś niewiasta czasowa pisała o „Emancypantkach“ Prusa i o jakiejś drugiej powieści, która również, jak „Emancypantki“ nie była całkiem dla... panienek; w drugim artykule druga niewiasta polecała trzy książeczki... francuzkie. Oto i cały plon z wiecu

krakowskiego, oto i całe zastosowanie się pisma katolickiego do jego uchwał. Bo trudno przypuszczać, ażeby „Czas“ reklamę dla Lisystraty i dla innych sztuk nieprzyzwoitych i niemoralnych uważał za wypełnienie uchwały sekcyi dziennikarskiej Wieca katolickiego, która wzywała pisma katolickie do strzeżenia moralności i przyzwoitości na deskach teatralnych.

Ponieważ pisma nasze ucichły już ze swojemi lamentami nad petycyą wniesioną przez galicyjskich nauczycieli ludowych do Rady państwa, można przeto spokojnie o tej sprawie pomówić. Oświata ludowa dziwnie jest u nas traktowana. Ciągle wołamy o zakładanie nowych szkół, lamentujemy, że jest ich za mało, mamy nawet Towarzystwo Szkoły ludowej, którego głównym celem jest przychodzenie w pomoc gminom nie posiadającym funduszów na stawianie budynków szkólnych, a tymczasem i do tych szkół, które istnieją, brak jest dostatecznej ilości nauczycieli. Czterysta szkół jest zamkniętych, bo nie ma w nich kto uczyć. Jakaż przyczyna tego braku nauczycieli, czy nie ma wcale w Galicyi proletaryatu inteligencyi, czy nie ma szkół przygotowujących kandydatów na nauczycieli ludowych? Owszem, wszystko to istnieje, tylko zmniejsza się coraz więcej liczba ludzi, chcących się skazać na nędzę całego życia. Nauczyciel szkoły ludowej na wsi pobiera 250 do 300 złr. Jeżeli przypadkiem ma jakiś swój własny fundusik, którym obraca jego gospodarna żona przez chów nierogacizny i drobiu, jeżeli znajdzie we dworze zajęcie przy dzieciach właściciela, to biedę swoją łata jak może. Ale inaczej trudno mu wyżyć i popełnia po prostu zbrodnią jeżeli się żeni i tworzy rodzinę, zbrodnię podwójną, bo skazuje najbliższych na nędzę i poniewierkę, a jednocześnie wśród kłopotów opuszcza się w pełnieniu swych obowiązków. Prawdziwie drakońska ustawa każe mu lat czterdzieści czekać na emeryturę, czego skutek jest taki, że zaledwie jeden na pięciuset dożyje, albo dotrzyma do tej upragnionej chwili. Nie wolno mu również przyjmować żadnych innych stałych obowiązków n. p. pisarza gminnego. I są jeszcze ludzie dziwiący się, że w tych warunkach brakuje nauczycieli. Okropne położenie większej ich części było powodem, że wnieśli do sejmu petycyą o polepszenia ich bytu. Z petycyami temi sejm obszedł się nielitościwie, pomimo rozumnych i uczciwych przemówień kilku posłów. Bezwzględność sejmu poruszyła do żywego sfery nauczycielskie i wywołała ową petycyą do Rady państwa, petycyą bardzo przykrą, bo będącą aktem oskarżenia dla autonomii galicyjskiej. Oburzać się na nią można, ale godzi się zapytać, kto jest winowajcą? Cała prasa z małym wyjątkiem potępiła nauczycieli. Ci jednak bronią się i tłomaczą. Świeżo w Stanisławowie walne zebranie oddziału Towarzystwa pedagogicznego powzięło uchwałę, w której oświadcza, że się solidaryzuje z tymi co wnieśli petycyą do Rady państwa, gdyż „droga, jaką nauczycielstwo w dochodzeniu swych słusznych żądań obrało, nie była protestem przeciw autonomii krajowej„ lecz smutną koniecznością, wywołaną przez skrajną nędzę i lekkomyślne traktowanie ze strony czynników krajowych żywotnej kwestyi polepszenia stosunków materyalnych nauczycieli ludowych“.

Innego rodzaju polemika toczy się o Akademią umiejętności. Sekretarz tej instytucyi, prof. Smołka wydrukował rodzaj memoryału o złym stanie finansowym Akademii i dołączył go do paru dzienników. Bardzo słusznie dowodził prof. Smolka, iż obszar zadań akademii jest tak wielki, że nawet na częściowe jego wypełnienie nie wystarczają jej skromne dochody, ztąd Akademia nie mogąc przystąpić do żadnego kosztowniejszego przedsięwzięcia musi publikować przeważnie materyały drugorzędne. Należy więc raz się zdecydować i obracać przedewszystkiem dochody na wydawnictwo prac naukowych, a dopiero kwotę pozostałą oddawać komisyom na wydawnictwo materyałów. Chcąc jednak w ten sposób uregulować budżet, potrzeba zkądkolwiek uzyskać kwotę 20,000 złr. Drugą palącą kwestyą jest brak pomieszczenia dla zbiorów naukowych. — odpowiednie dobudowanie gmachu obliczone zostało na 15,000 złr. Nie wchodząc w dalsze szczegóły odezwy prof. Smolki zaznaczyć muszę, że całe przedstawienie rzeczy dawało dziennikarstwu pole do uwag poważnych i do poparcia akademii. Na takie poważne uwagi jednak, lub na przedmiotową polemikę, nie zdobyło się nasze dziennikarstwo. Pojawił się tylko oponent w osobie p. Stanisława Tomkiewicza, który w liście otwartym zarzucił Akademii, że nie umie rządzić swojemi funduszami i że wydaje wiele rzeczy bez wartości. Nie ma miejsca w korespondencyi na rozbiór zarzutów oponenta, ani też na rozbiór kilku artykułów, które w odpowiedzi p. Tomkiewiczowi pomieścił prof. Smolka w „Czasie“, ani wreszcie na streszczaniu dupliki p. Tomkiewicza, która świeżo się ukazała w „Głosie Narodu“. A choćby było miejsce, przyznaję się, że niechętnie zajmowałbym się tą polemiką, która zeszła na tory nadzwyczaj niewłaściwe, całkiem nieodpowiednie godności i powadze takiej instytucyi, jak jest Akademia. Gdyby prof. Smolka zupełnie nie odpowiadał p. Tomkiewiczowi, nie możnaby mieć do niego o to żadnej pretensyi, ale kiedy się zdecydował odpowiadać, to odpowiedź mogła być krótka i przedmiotowa. Tymczasem prof. Smolka uniósł się, odpowiedział szeroko, nie uchronił się od wycieczek treści osobistej i zaczął na prawo i na lewo gromić mniemanych, a skonfederowanych nieprzyjaciół Akademii rozdrażnił sprawę i zbiera teraz cierpkie owoce swego wojennego animuszu. W ten sposób prowadzona dyskusa nietylko jej nie pomoże, ale owszem szkodę wyrządza.

Nie ma funduszów na Akademią, na podwyższenie płac nauczycielskich i na wiele innych rzeczy, ale są fundusze na wyścigi i na operę w Krakowie. Nie na żarty cywilizuje się on i zostaje wielkiem miastem. Toć w Warszawie, jak Warszawa Warszawą, nie było większej nagrody wyścigowej nad dwa tysiące rubli, a w Krakowie pierwsza nagroda tegoroczna wynosić będzie 40,000 koron. Poznać pana po cholewach! Gdyby Akademia zajmowała się sportem z pewnością nie potrzebowałaby biadać nad brakiem funduszów. Ba! i opera będzie nielada; proszę sobie tylko pomyśleć, że na letni sezon operowy zostali zaangażowani do Krakowa: Myszuga, Hellerówna, Bandrowski, Jeronim, Abendrothówna i t. d. I jest nadzieja, że się ta opera utrzyma i przedsiębiorcom zostanie jakiś grosz w zysku. Nadzieję tę opieram na tem, że przez kilka lat z rzędu goszcząca w Krakowie przez lato operetka lwowska, kiedy już odśpiewała wszystkie swoje tłuste i chude kuplety, zabierała się zawsze w końcu do wykrzykiwania oper. I choć wróble padały trupem od tego ryku, a szczury wynosiły się za miasto przed tą piszczącą konkurencyą, poczciwi obywatele krakowscy płacili za znęcanie się nad swemi uszami i za patrzenie na więcej jeszcze brzydkie niż stare chórzystki operetkowe. Ale Myszuga i Bandrowski — będzie co słyszeć, Hellerówna i Abendrothówna — będzie na co patrzeć! Radzę tylko reżyserowi ułożyć repertuar odpowiednio do miejscowych stosunków. Niech więc naprzód pójdą „Pajace“ na cześć różnych naszych wielkości, później dać można „Faworytę“ ze względu na stosunki teatralne, dalej „Żydówkę“ dla zjednania sobie żydów z Kazimierza i „Proroka“ na cześć p. Koźmiana itd.

K. Bartoszewicz.

Listy z Berlina.

Berlin 23 kwietnia.

(Jak się Berlin modli. — Atak na swobodę teatrów. — Proletaryat umysłowy E Wollzogena. — Kwestya małżeńska.)

Z dniem jutrzejszym Berlin otrząśnie się z politycznej drzemki, w którą zapaść sobie pozwolił, dzięki feryom świątecznym i przerwie w obradach parlamentu. Przerwa ta była o tyle korzystną, że zastraszonym groźbą ustawy antiprzewrotowej pozwoliła powrócić do równowagi tak, że rozejrzawszy się wśród ogólnej niechęci, jaka ją spotyka z tem większą odwagą i nadzieją zwycięstwa przeciw niej występować mogą.

Zgromadzenia zwoływane w tej sprawie, jednomyślnie nieomal wypowiadają się przeciwko ustawie, która taki kaganiec nałożyć by musiała na myśl i słowo. W każdym razie głosowanie za ustawą wejrzeć nam pozwoli, jaką jest istotna przyjazna jej mniejszość i czy rząd w ciągu najbliższych dziesiątków lat może mieć nadzieję postawić cenzurę policyjną, jako trybunał ponad wszelkiemi objawami umysłowego, artystycznego i politycznego życia.

W chwilach gdy od polityki odetchnąć można, warto się rozejrzeć, jak się Berlin modli, a raczej jak się modlił w dni przez wszystkie kościoły nakazane. Berlin, o ile sądzić mogę, nie jest zbyt pobożnem miastem, jest niem prawdopodobnie mniej od Wiednia, gdzie ceremonie i nabożeństwa znaczną jeszcze w życiu ludności odgrywają rolę. Wpływa na to w pierwszym rzędzie fakt, że miasto protestanckie, a więc pobożność ujęta w karby, z góry przepisana, oficyalna uspakaja sumienia ścisłem wypełnieniem obowiązków religijnych, mało zaś pozostawia pola do owych religijnych zachwytów i ekstazy tak pospolitej w krajach katolickich, zwłaszcza w krajach nieszczęśliwych, uciśnionych, gdzie uczucia niezadowolenia społecznego i czyste, patryotyczne porywy jedynie w modlitwie ujawnić się mogą. Pomimo to w ciągu świąt, jeżeli jeszcze o nich wspomnieć wolno, wszelkie przybytki modlitwy roiły się ludem, a rozbrzmiewały muzyką i śpiewami.

Nie chciała też w tyle za innemi pozostać wolnomyślna gmina, która w oba dni świąt urządzała w wielkiej sali na Rosenthalerstrasse rodzaj nabożeństwa. Do historyi i rozwoju obecnego gminy tej powrócę za innym razem; na dziś niech wystarczy, że stoi na jej czele znany publicysta; literat Bruno Wille, i że zgromadza ona co niedzielę na nabożeństwa wspólne około 500 osób. Nabożeństwo takie rozpoczyna się i kończy śpiewem, środkową i główną część wypełnia wykład, któremu z większą uwagą, a może i z niemniejszem uniesieniem przysłuchuje się publiczność, niż kazaniom księdza proboszcza po kościołach naszych. Ciekawą przedewszystkiem jest ta publiczność: to nie jakieś grono literatów, publicystów, artystów słowem wybranych, którzy oddzieliwszy się od tłumu urządzają sobie duchowe a g a p e. Kto wie, czy taki dobór nie byłby więcej pociągającym dla waszego korespondenta. Tu jednak tak nie jest: Twarze i ubrania zdradzają co najwyżej stan średni, klasę pracowitą i pracującą o niewielkich wymaganiach artystycznych i umysłowych, która szuka przecież innej strawy duchowej niż ta, którą oficyalne instytucye dać jej mogą.

Nowy kościół, czy kościół przyszłości, jest dotąd bardzo ubogi; nagie ściany brak instrumentów muzycznych dotkliwie uczuć się dają człowiekowi, który religijne wrażenia zastąpić by rad estetycznemi, pomimo to potrzeba połączenia się wspólnym religijnym nastrojem z ogółem w pewne dni roku jest tak potężną, iż przyznaję, że z przyjemnością przysłuchiwałem się nabożeństwu. Wystąpił sam Bruno Wille, postać stworzona na ludowego trybuna, górująca nad innemi wzrostem, głosem, wreszcie spokojem i przekonaniem z jakiem wypowiedział swą mowę.

Zmartwychwstanie?! — wołał. Gdy usunąć dogmat religijny, co czcić będziemy w dniu takim? Oto zmartwychwstanie myśli ludzkiej, przebudzenie się świadomości, poczucia godności własnej i szerszych aspiracyi umysłowych, którym już nauka kościelna z aparatem swoich form wspaniałych, lecz sztucznych nie wystarcza. Wiosna, w której budzi się cała natura najwięcej może nadaje się do rozmyślań podobnych zwłaszcza, gdy się człowiek poczuje cząstką tej natury, gdy zrozumie owe nici wiążące całość i uważa się za jedno z ognisk w wielkim łańcuchu stworzeń.

Żyjemy przecież w tak na wskroś uspołecznionych czasach, że w tym nastroju panteistyczno-komicznym mówca niedługo potrafił się utrzymać, przechodząc do spraw codziennych. Kwestyą na czasie dla gminy wolnomyślnej jest obecny jej rozłam z demokracyą społeczną, która ze względów faktycznych potępia wszelkie ruchy nie mające na celu walki o polityczn

i ekonomiczne prawa ludu. jakkolwiek dążność ich i treść byłyby zupełnie w jej duchu. Wolnomyślni, stojący dalej od walki o interes materyalny, rozpocząć chcą przeobrażenie stosunków społecznych od udoskonalenia samego człowieka, pragną go przedewszystkiem podnieść umysłowo i moralnie i dla tego przyjmują chętnie każdego, co rad podjąć walkę o swobodę ludzkiego ducha, bez względu na jego przekonania polityczne. Bruno Wille, jakkolwiek w teoretycznych swych dziełach indywidualista sans phrase*), nie ogranicza się w swej działalności społecznej na prowadzeniu gminy wolnomyślnej. Stoi on również na czele teatru, w którym sztuki z nowoczesną tendencyą grane są przez amatorów, a dostęp otwarty członkom stowarzyszenia i wprowadzonym przez nich gościom — „Neue freie Volksbühne“. Ta scena wolna, która w ostatnich czasach bardzo pomyślnie rozwijać się poczęła, zagrożona jest obecnie w swojej egzystencyi. Pod pozorem, że przestępuje prawo z 10go lipca 1851 roku, mocą którego stowarzyszenia tylko w gronie swoich członków urządzać mogą przedstawienia teatralne bez uprzedniej cenzury sztuk, policya zakazała przedstawień. Uprzedzając, jak widać, paragrafy niepewnej co do swego urzeczywistnienia ustawy anarchicznej, policya stawia veto wolnym teatrom. W teatrze Willego, kiedy zgromadzona publiczność oczekiwała podniesienia się kurtyny: — grać miano Alshilda Agrella „Einsam“ — podniósł się z pierwszego rzędu krzeseł przedstawiciel władzy, zapowiadając, że sztuka nie jest dozwoloną. Publiczność nie ruszając się z miejsc czeka, co będzie dalej, kurtyna się podnosi, na scenie widać samotną młodą kobietę, nadzieje rosną. Tymczasem zamiast aktorki przemawia dyrektor, potwierdzając zakaz policyi.

Takie same rozporządzenie zastosowane do dawniej istniejącej „Wolnej sceny“: przedstawienie granych już tylokrotnie i w tylu teatrach „Tkaczów“ Gerharda Hauptmanna zostało w Halli zabronionem — teatrom więc na całej linii wytacza rząd wojnę.

Wolne sceny przy zastosowaniu prawa z 1851 r. upaść będą musiały, gdyż dozwolą im tylko na sztuki ocenzurowane i przedstawione odpowiedniemu urzędowi 14 dni naprzód. Znika przeto racya bytu nieoficyalnech teatrów. Jak widać z przykładu i z oficyalnemi coraz brutalniej policya obchodzić się będzie. Prokurator, motywując zakaz przedstawienia „Tkaczów“, powiada, że nie chce przesądzać jakie były zamiary autora, ale publiczność wypadki opisane w „Tkaczach“ uważać może za typowe, a więc typem postępowania przedsiębiorcy będzie wyzysk, a robotników bunt przeciw wyzyskowi, co na spokój publiczny podburzająco oddziałać może.

„E pur si muove“! Pomimo owych zakazów i prześladowań na scenie pojawiają się nowe prądy i nowi ludzie. Daje takich niewątpliwie Wollzogen w sztuce swej „Lumpengesindel“, co najlepiej przetłomaczyć by można w danym wypadku przez „Proletaryat umysłowy“. Proletaryat ten pojmuje i odczuwa najwyższe zadania i najśmielsze poloty ducha ludzkiego, sam stawia śmiałe, głębokie i świetną szatą formy przyodziane teorye, ale nie mają one powodzenia na literackim rynku i z tego powodu autorowie ich opędzać się wciąż muszą dłużnikom, a wydatki swoje doprowadzać do takiego minimum, by im jeden surdut na dwóch wystarczył.

Sztuka Wollzogena grana już w Wallner Theater, potem na wolnej scenie, przeszła obecnie do „Niemieckiego teatru“, gdzie wyborna gra artystów uwydatnia wszystkie jej zalety. Jakkolwiek drugi akt jest nieco za rozwlekły, a fabule, która jest podkładem głównej tezy, brak nieco wyrazistości, sztuka to ciekawa i dużo daje do myślenia. Podniesiono w niej zagadnienie kilkakrotnie już spotykane w sztukach autorów francuzkich i duńskich, czy mąż może przebaczyć żonie winę popełnioną przed ślubem, którą przed nim utaiła. Wollzogen różni się od innych tem, że typy kochanka, żony, męża, przyjaciela, a wreszcie teścia, który sam córkę do zatajenia przedślubnego stosunku namawiał, to wszystko ludzie wcale nie szablonowi. Choć na różnych stopniach umysłowego rozwoju są oni wszyscy niezmiernie uczciwi, bardzo przywiązani do siebie i niezmiernie prości we wzajemnym stosunku.

Jest to więc tragedya bez koturnowych akcesoryów, a nawet realizm jej trochę zanadto zaakcentowany na sposób niemiecki; występuje bowiem całe gospodarstwo na scenie z zamiataniem, szynionem na gwoździu, nieposłanem łóżkiem i t. d. Publiczność przyjęła sztukę dobrze, choć po ostatnim akcie odzywały się sykania, nie aprobujące widać nowych ludzi, czy kierunku. Najlepiej może udała się autorowi postać wachmistrza, ojca młodej żony, uczciwego człowieka z ludu, który patrzy na życie bez pryzmatu teoryi i nie może pojąć, aby jego dziecko było mniej warte dla tego, że je uwiódł przed ślubem młody student.

Bez żadnych obsłonek traktuje też Berlin kwestyą małżeńską w praktyce. Nie wiem, czy spotkali się czytelnicy moi z drukowaną na różowym papierze „Gazetą małżeńską“? Pismo to wielkości nieledwie Timesa daje na pierwszej stronie portrety różnych par panujących, występuje niby to w imię zwalczania prostytucyi, a nawołując do związków małżeńskich, zamieszcza ogłoszenia i artykuły w trzech językach, oraz wskazuje od pierwszej strony adres swego pośredniczącego bióra. Wychodzi już drugi rok, a policya, która zakazuje „Tkaczów“ i w imię moralności publicznej zamyka wolne sceny, nie przeszkadza w tem otwartem rajfurstwie! Gazeta w literackiej jakoby swej części robi wrażenie ohydne, bo i jak nazwać powiastki o nauczycielkach, z których każda po to wchodzi w dom obcy, aby w nim męża złapać, każda w tym celu poświęca swą niewinność, ale z bardzo rozmaitym skutkiem! *S. Z. D.*

KRONIKA LONDYŃSKA

Londyn 23 kwietnia 95.

(Z nowej“ literatury: Gallia. Słówko o jej autorce. Kardynalna zaleta „nowej“ powieści. Z teatru: sztuki pp. Sydney Grundy, Henryka James i Oskara Wilde. Inna sztuka tegoż, której sam jest autorem, bohaterem i — ofiarą, a wynikiem hańba i śmierć za życia).

Jeżeli kto nie zapomniał się jeszcze dziwić, to książka i tragedya z życia, o których mam wspomnieć poniżej, obfitego dostarczą mu materyału. Książką tą jest powieść p. t. Gallia przez Menie Muriel Dowie. Niewiasta ta przed kilku laty błąkała się przez dziesięć tygodni po stokach Karpat w poszukiwaniu romantycznych wypadków i niedźwiedzi, z „żydkiem“ w kieszeni (sic!!), a gdy obejrzała sobie spódniki kilku wieśniaczek i nauczyła się robić pierogów, powróciła nad Tamizę. Wypadki romantyczne nie chciały po niej chodzić, ale natomiast chodziły po niej nieromantyczne pchły kołomyjskie (sic!!) i pokąsały ją bezlitośnie, chciwe krwi nieboráctwa, bo zdaje mi się panował wówczas w Galicyi — głód. Przywiozła z sobą różne trofeje: strój rusińskiego chłopa, w którym jej było do twarzy (sic) oraz wiersz, w którym c. k. listonosz w języku urzędowym wysławiał jej wdzięki (sic.) Natchnęła nawet poetę polskiego do pięknego wiersza! Gdybym całe życie mówił wierszami, nie skleiłbym częstochowskiego dytyrambu wobec pyramidalnej arogancyi, z której bije łuną wyschłość serca, bezgraniczny egoizm i bałwochwalstwo dla swej wielkości, przed któremi dały nogę nawet drapieżne zwierzęta. Wynikiem tej bohaterskiej podróży był — humbug, książka p. t. „Dziewczyna w Karpatach“, o której swego czasu pisałem w jednym z tygodników. Dość, że czytelnik zapytuje się, czy autorka zadrwiła z siebie, z niego, czy z Karpat i Anglii. Tymczasem nie, panna M. M. Dowie pragnęła po prostu reklamy i męża. Szukała i znalazła jedno i drugie. Tu zapał do literatury ostygł, bo zajęła się serdecznie swem ukochanem — prosięciem (sic!!) Dopiero teraz spotykamy się z jej powieścią, która lubo pisana wiele lepiej, przypomina nam żywo, zanadto żywo „Dziewczynę w Karpatach“. Powieści t. z. nowej kardynalnym warunkiem jest oryginalny podkład społeczny, lub wynalazek na polu etyki oraz propagowanie „nowej“ moralności, która — pod piórem pisarki, nie obdarzonej ani wykwintnym smakiem, ani delikatnością uczuć — dziwnie przypomina — starą niemoralność. W „Gallii“ dowodzi autorka, że skromność kobieca, jak ją dotąd pojmowaliśmy, jest wierutnem głupstwem i że mężczyzna w porównaniu z kobietą jest marną kreaturą. Książkę tę zaś dedykuje autorka — risum teneatis — mężowi. O tem, aby cośkolwiek udowadniła, prócz krzyczącego braku delikatności, nie może być mowy, bo w powieści nie występują ludzie lecz manekiny, których ona pociąga za sznurek, rozkazując im mówić przeróżne rzeczy zarówno dziwne jak wstrętne. Każda teza jest dobrą dla powieściopisarza i nie ma tak zdradliwego tematu, któregoby nie mógł podjąć i przedstawić bez uszczerbku prawdy w sposób piękny, lecz na to potrzeba posiadać miarę artystyczną i dobry smak. Pamiętam z szkólnej ławy sentencyą, bo bito mi za niespamiętanie jej łapy: „si duo faciunt idem non est idem“. Ponieważ dłonie dawno mi otęchły, czuję obecnie nawet wdzięczność dla pedagoga z trzciną i wyciągam z tego wniosek (nie z łap), że autorka, dowodząca wyższości płci swej nad męzką będzie miała dopiero wtenczas widoki przekonania czytelnika, jeźli jest istotą — kobiecą, a nie wyżłem, nie wystawiającym kuropatw. Skromność kobieca jest głupstwem jeżli jest wyuczoną pod grozą łap lub klęczenia na grochu, lecz nie jest głupstwem, jeżli jest przyrodzoną, a przyrodzoną jest niewiastom o naturach istotnie kobiecych. „Das ewig Weibliche“ ma to do siebie, że wady zmniejsza, często nawet dając im wygląd zalet, a zalety czyni istotnemi zaletami. Mężczyzna, szanujący w kobiecie indywidulność, przeoczy wiele wadliwości i zgodzi się na wiele, ale jedno w niej znaleść musi — kobiecość, bo tak przykazała mu matka natura. Wrażliwy człowiek odczuwa różnicę od razu pomiędzy kobietą o naturze męzkiej, a niewieściej — istota jak Gallia nie przemówi do niego, bo nie jest dobrą kobietą ani starego, ani nowego wyrobu, ani w ogóle nie odpowiada jego pojęciom o kobiecie. Lecz byłoby obelgą posądzać „nową“ angielkę o takie niemodne właściwości jak czucie lub kobiecość.

O wyższość płci pięknej nad męzką kłócić się nie myślę. Niech sobie będzie wyższą! Tem lepiej dla mężczyzn. Jakże jednak może stać wyżej od przeciętnego mężczyzny kobieta nie mająca właściwości swej płci?... Tego zaiste nie wiem.

Jako „Nikt“ (*Nobody*) przyjętym zwyczajem podszywam się pod „kogoś“, bo od czegoż są autorytety? Przytaczam przeto wzmiankę o „Gallii“, znalezioną w literackich zapiskach pewnego poważnego pisma, która brzmi: „jeźli ta zadziwiająca powieść jest żartem lub satyrą, to z pewnością w możliwie najgorszym guście“. Nie dziwiłoby mnie atoli, gdyby książka ta cieszyła się powodzeniem, bo na to dość — zadziwiać

Na polu dramatycznem w ciągu ubiegłych trzech miesięcy ruch ożywił się bardzo i premiery spadają na nas jedna za drugą. Dla tego wzmiankę o pięknej sztuce Artura Pinero, znanego w Polsce dramaturga, odłożyć muszę do przyszłego listu. Naprzód p. Sydney Grundy dał nam poważnie przykrojoną sztukę p. t.: „W ślubnych pętach“, naturalnie przyczynek do niewyczerpanej kwestyi małżeńskiej, lecz z tematu nie zdołał wydobyć dość silnych momentów psychologicznych, albo raczej zaakcentować ich właściwie, wynosząc tem do sytuacyi dramatycznej. Zupełnie przegrał swą sprawę pan Henryk James z swym: Witem Domville, w czem mamy świeży dowód, że bardzo zdolny powieściopisarz może być niezdarnym dramaturgiem. W istocie p. James zdaje mi się być ostatnim z literatów, którzy mogliby wstąpić na deski teatralne, bo cechą naturalizmu jego jest unikanie efektowności tak, że każdy moment, który mógłby być dramatycznym, rozpływa się w całości jak kęs w morzu. Tak jak malarz patrząc na

*) Pogląd filozoficzny Willego charakteryzuje ostatnia jego praca: Philosophie der Befreiung durch das reine Mittel. Berlin 1894 r.

świat widzieć powinien barwy, tak dramaturg odnaleść w odłamach życia dramatyczne point'y.

Oskar Wilde wzbogacił scenę dwoma na kolanie napisanemi komedyami. „Idealny małżonek“, przyciąga widzów wyłącznie błyskotliwą frazeologią. Jest nim podsekretarz stanu, który zbudował swą karyerę na sprzedaniu państwowego sekretu. O tajemnicy jego dowiaduje się kobieta, z czci i honoru obrana, i stara [się go nakłonić do powtórnej zbrodni: do zaprzedania sumienia i przekonań za cenę milczenia. Polityk, czując ruinę wiszącą nad sobą, waha się, lecz wpływ żony przeważa szalę, a stereotypowy przyjaciel scenicznym fortelem zamyka usta oszustki. Sekretarz pezemawia w parlamencie przeciwko sprawie w której interesowaną jest kusicielka jego pani Chevelly i — otrzymuje tekę ministeryalną. Czyniąc sobie gorzkie wyrzuty za swój dawny niecny postępek, pragnie winę odkupić wyrzeczeniem się wszelkich zaszczytów, lecz praktyczna żona, widząc, że z całej burzy wynikł honor, przedkłada mu niewłaściwowość takiego postępowania i, lubo zaręcza, że nie uważa go więcej za ideał, jest wszelka nadzieja, że sukces jego wnet okryje go w jej oczach dawnym blaskiem. Żona sekretarza przedstawia się w tym punkcie prawdopodobnie, lecz autor-idealista, skłonny do dziwnych z etyką kompromisów, życzy sobie, abyśmy ją podziwiali! Wogóle wypadkowość gra tu tak wielką rolę, że treść trudno brać na seryo. Nie ulega wątpliwości, że „Oskar“, który stworzył tak dobrą komedyą jak Beau Austin, mógłby zdobyć się na coś lepszego, chociaż nie jest mistrzem w technice, a kreacya charakterów nie leży w zakresie jego talentu, który uwydatnia się w całej pełni w jego wierszach, przepięknych i niezrównanych baśniach i poezyach prozą. Wywołany przed kurtynę „Oskar“ ukazał się tym razem bez zielonego goździka i bez papierosa, lecz zaręczył publiczności, że — „spędził wcale przyjemny wieczór!!“

Druga sztuka jego nosi tytuł: „Doniosłość poważnego zachowania się. Trywialna komedya dla poważnych ludzi.“ Trudno zachować się poważnie wobec tej farsy, będącej nieprzerwanem pasmem dzikiej gry słów, na jaką tylko zdobyć się może pióro „fabrykanta parodoksów“.

Tytułu ani treści trzeciej jego „sztuki“ wymienić nie mogę, chociaż zajmuje ona umysły całej Anglii więcej niż jakabądź inna komedya, a ciche fale opinii publicznej rozdmuchała do tak potwornych rozmiarów, że statek Oskara Wilde, z nim samym i jego pismami na pokładzie, w mgnieniu oka poszedł na dno morskie. Inscenizowana niefortunnie farsa okazała się wstrętną, bolesną i tragiczną. Pióro wypada z ręki, a umysł odbiega, aby pokusić się o zbadanie natury dramaturga, odgadnąć wyrok przeznaczenia, pojąć doniosłość wpływów zewnętrznych i zastanowić się nad ludzką odpowiedzialnością. W innych pismach znajdzie czytelnik szczegóły tej długiej sprawy, albo raczej niektóre szczegóły tego skandalu nad skandalami. Dość, że artysta spędza święta — w celi więziennej, oskarżony o największe i zbrodnicze występki przeciwko moralności. Wyrok zapadnie za tydzień. Jakbądź będzie, Oskar Wilde jest człowiekiem, którego opinia publiczna raz na zawsze wymazała z listy żyjących. W istocie, jeżeli już gwałtem chciał sobie poderżnąć gardło, o ileż naturalniejszem było sprawić sobie brzytwę, lecz w tem właśnie sęk, że to, co naturalnem nie leżało w zakresie jego działalności. Ponieważ każdy filister ma sobie za święty acz pewnie nie chrześciański obowiązek tratować nogami tak nizko upadłą gwiazdę, aby tanim kosztem zareklamować swe cnoty, dla miłej odmiany ośmielę się wstręt zasłonić głęboką litością!...

Nobody.

Z estrady i sceny.

„Na schyłku.“

Dramat w 5 aktach p. Dr. Dyonizego Karchowskiego.

Zadanie krytyka bywa niekiedy trudnem i przykrem. Doświadczyli tego w ubiegłą sobotę ci wszyscy, na których ciążył obowiązek zdania sprawy z odegranej w teatrze naszym premiery. Przedstawiano pierwszy utwór autora młodego, który urodził się i wychował na wielkopolskiej ziemi. Wobec posuchy literackiej, która u nas panuje, każdy nowy talent przyjaźnie i radośnie witać należy. Wielkopolska wogóle wydała ich nie wiele, wiele mniej niż jakakolwiek dzielnica ojczyzny naszej; na polu zaś literatury dramatycznej wogóle nie cieszymy się zbyt wielkiem bogactwem. To też jakże miło by nam było odkryć w nowym dramacie pierwiastek wyższego natchnienia, wróżyć mu przyszłość sławy i zasługi — a czytelników naszych ucieszyć wieścią, że znowu zabłysnął wśród nas talent, który literaturę dramatyczną zbogaci. Prawda, że pierwsze utwory nawet i najzdolniejszych autorów, bywają zwykle mniej lub więcej chybione, a oparte na nich sądy i przepowiednie zawodzą często. Jeżeli jednak nasz młody dramaturg ma talent, to dotychczas nie zdradził on go jeszcze, nie ujawnił ani oryginalnością pomysłu, ani prawdą psychologiczną charakterów, ani szczęśliwą budową pojedyńczych scen.

Treść sztuki stanowi skomplikowana wiązanka faktów nie umotywowanych dostatecznie, pozczepianych sztucznie i przeładowanych melodramatycznemi efektami. Widzowie doznawali takiego wrażenia jakby nie obraz rzeczywistego życia, lecz ciągłe reminiscencye z różnych sztuk teatralnych mieli przed oczyma. Ogólny ton i nastrój nie podnosił się nigdzie ponad płaski poziom parafiańskich intryg i filisterskich morałów, co wreszcie nie byłoby wadą w utworze, którby nazwy dramatu nie nosił i odznaczał się realizmem, prostotą i trafnem pochwyceniem powszednich życiowych stósunków. „Na schyłku“ jednak nie jest komedyą, gdyż zbyt wiele ma scen tragicznych i ponurych efektów, nie jest również dramatem, gdyż na to braknie mu głębi, siły i wyższego punktu widzenia. Rzecz dzieje się w Poznańskiem; znać nawet pewne dążenie do nadania jej ściśle lokalnego kolorytu. Świadczą o tem np. żartobliwe wycieczki pod adresem naszej młodzieży, zresztą cokolwiek rażące w dramacie, nadające się może do lekkiej komedyjki — właściwsze jednak dla farsy. Głównymi bohaterami są członkowie obywatelskiej, na wsi osiadłej rodziny, złożonej z matki, wdowy, i trojga rodzeństwa. Pani Błonowska, kobieta słabowita, po śmierci męża kieruje interesami rodziny wśród bardzo trudnych materyalnych warunków. Mimo niepowodzeń usiłuje jednak ziemię ojczystą utrzymać w ręku. Zadanie to utrudnia jej lekkomyślność marnotrawnego syna, Artura, i intrygi Marcewicza, plenipotenta, opiekuna dwojga małoletnich. Marcewicz ów, pragnąc się ożenić z Janiną Błonowską, usiłuje zerwać jej zamierzone małżeństwo z Bolesławem Tarłowiczem. Równocześnie pracuje nad przeprowadzeniem sprzedaży Błonowa komisyi kolonizacyjnej, która mu przez swego agenta pewien procent od sumy sprzedażnej obiecała. Wiedząc, że ani matka ani syn wsi rodzinnej w ręce kolonizacyi oddać nie zechcą, że matka wogóle na sprzedaż majątku się nie zgodzi — namawia tę ostatnią do wyjazdu do Berlina na kuracyą, poprzednio zaś uzyskuje od niej plenipotencyą na rzecz syna, upoważniającą tegoż do sprzedania części lasu. W ostatniej chwili jednak podsuwa jej zamiast odczytanego dokumentu, plenipotencyą do sprzedaży całego majątku. Na mocy tego aktu usiłuje w czasie jej nieobecności przeprowadzić sprzedaż łudząc Artura, że nabywcą będzie Polak. Intryga ta, na której się główny węzeł dramatyczny opiera jest przecież bardzo naiwną i niezręczną. Pierwszą lepsza rozmowa matki ze synem może ją zdradzić i wyświetlić, a choć Marcewicz robi co się da, aby stósunki między temi dwiema osobami jak najrzadszemi uczynić, nie może przecież wbrew rozsądkowi łudzić się nadzieją, że w kwestyi dla obojga równie ważnej przez całe miesiące ani słówka nie zamienią. To też wprost dziwić może nieprawdopodobny fakt, że tajemnica utrzymuje się aż do 4 aktu. W naturalnym porządku rzeczy za pierwszem widzeniem się z matką, z którą przecież wówczas pod jednym dachem przebywali, byłby Artur wspomniał o uzyskanej od niej plenipotencyi.

W domu Błonowskiej przebywa jej kuzynka Łucya, zaręczona z młodym filologiem Stromińskim. Pod wpływem miłości dla Artura zrywa ze swym narzeczonym i staje się ofiarą przelotnego kaprysu lekkomyślnego młodzieńca. Artur namawia ją do wyjazdu do Berlina, dokąd sam udaje się na studya, lecz po pewnym czasie zaniedbuje ją i przez swą obojętność do rozpaczy doprowadza. Tarłowicz, narzeczony Janiny, ujmuje się za pokrzywdzoną, przypomina Arturowi zaciągnięte względem niej obowiązki, słowem rozciąga nad nią przyjacielską opiekę. Z tego korzysta Marcewicz, aby przed Janiną Tarłowicza oskarżyć. Namawia ją na podróż do Berlina i wprowadza na maskaradę, na której znajdują się również Artur, Tarłowicz i Łucya. Po gwałtownej scenie między Łucyą a Arturem, wywołanej na razie powodem dość błahym, gdyż chodzi o przetańczenie walca, na co Artur, nie wiadomo czemu, zgodzić się nie chce — Łucya wpada w szał, a Tarłowicz ją uspakaja. W tej chwili właśnie zjawia się na scenie Janina. Podejrzenia jej zdają się być uzasadnione, czyni więc narzeczonemu wymówki i zwraca mu słowo. Cała ta scena maskaradowa, na teatralny efekt obliczona, nie umotywowana niczem, czyni wielce sztuczne wrażenie. Dlaczego nieszczęśliwa Łucya znalazła się na maskaradzie, dlaczego chce koniecznie tańczyć? dla czego Artur, który chwilę przedtem doznawał pewnej skruchy na jej wspomnienie, odmawia jej tej drobnej, nie zobowiązującej zresztą do niczego przyjemności? Czemu wreszcie Janina widząc niezrozumiałą scenę między Bolesławem a Łucyą nie zbliża się do nich, aby posłyszeć ich słowa, co byłoby od razu sytuacyę wyjaśniło, zamiast czekać za filarem póty, póki Bolesław sam nie zostanie? Tego rodzaju zagadek zawiera dramat bardzo wiele. Marcewicz, nie mając w tem żadnego interesu namawia Artura do hulanek i gry hazardownej, choć przez to uszczupla się przecież majątek Błonowskich i ewentualny posag Janiny. W czwartym akcie rozmowa matki z synem wyjaśnia kwestyą sfałszowanej plenipotencyi; ten sam akt jeszcze zawiera sprawę niedoszłego pojedynku, będącą zresztą zupełnie bez znaczenia dla samej sztuki i scenę obłąkania Łucyi skopiowaną niezbyt zręcznie z Szekspirowskiego Hamleta. Smierć matki nakłania Artura do skruchy; w piątym akcie widzimy go na wsi dręczonego wyrzutami sumienia. Wszystko się zresztą sprzysięga, aby jątrzyć jego moralne cierpienie. Mały braciszek deklamuje mu wiersz patryotyczny o miłości ojczyzny i ludzie polskim, słońce zachodzi nad grobami rodziców, dzwon na Anioł Pański budzi wspomnienia dziecinne i skłania go do modlitwy, chłopi z węzełkami na plecach idą do miasta na robotę, przeczuwając, że je zabraknie w domu (trochę przedwcześnie swoją drogą, bo kolonizacya dopiero za parę miesięcy ma objąć majątek) — a wszystkie te wrażenia wywołują zamiar samobójstwa. Artur idzie się zastrzelić na grobie rodziców. Tymczasem nadjeżdża wezwany przez Janinę Tarłowicz i objaśnia domowych, że sprzedaż majątku można jeszcze na mocy zeznań Artura unieważnić, dodaje przytem nawiasowo, że Łucya wraca do zdrowia. Wprawdzie równocześnie rozlega się huk strzału i rannego bohatera wprowadzają na scenę, jednakże fakt ten nie czyni zbyt wielkiego wrażenia. Całe otoczenie zamiast zająć się opatrzeniem rany i przywołaniem samobójcy do życia — wypowiada do niego różne budujące nauki moralne i oznajmia mu dwie powyżej wzmiankowane pocieszające wiadomości. Nie braknie zresztą i księdza, którym jest ex-narzeczony Łucyi, szukający w powołaniu duchownem ulgi na rany sercowe. Zakończenie, jak widzimy, słabszem jest jeszcze niż cała sztuka. Nagromadzenie nadmiaru sztucznych efektów dodaje mu charakter niesmacznego melodramatu.

Do lepszych, lecz drugorzędnych postaci należy komiczna osobistość starej panny, ciotki Artura i Janiny. Jestto typ nie nowy wprawdzie, nawet trochę zużyty w komedyi, lecz dość naturalny.

Dodać można, że artyści z trudnego swego zadania starali się jaknajlepiej wywiązać. Na szczególną wzmiankę zasługują pp. Trapszo i Sosnowski, których talent i inteligencya zdołały wlać trochę życia w główne postacie dramatu; p. Trapszowa rolę starej panny odtworzyła charakterystycznie a bez przesady, wreszcie p. Wróblewska, w scenach obłąkania uiawniła wiele talentu do ról tragicznych. Zadanie p. Skirmunta przedstawiało nieprzezwyciężone trudności. Rola moralizatora jest zawsze niewdzięczną na scenie, to też nie można mu czynić zarzutów, że jej mimo najgorliwszej pracy zajmującą uczynić nie zdołał.

Iza Moszczeńska.

NA WYŁOMIE.

(Wojna bez końca. Wiosenne porywy. Mówmy o zimie. Tajemnica. Kapitulacya. Zerwane małżeństwo. Lament Kuryera.)

Los polemisty do wesołych nie należy. Żołnierz po wojnie miewa Kapuy i biwaki długie a przynajmniej ciszę, wytchnienie i odpoczynek, szermierz — publicysta nigdy. Latem i zimą w ogniu kartaczowem, sam kłuje piórem i ostrze wroga wciąż czuje na piersiach, wiecznie czarny od prochu, z okiem i uchem wytężonem, z bitwy do bitwy, raniący i ranny, w zgiełku i dymie, w grzechocie strzałów i poświście kul, a nad głową skołataną „Czuj duch!“ bezustanne. „Bodajś pękł“ — mówicie, gdy was gniew uniesie. — „bodajś został polemistą“ — ja mówię, gdy mam ochotę zadusić kogoś jak b o a c o n s t r i c t o r.

I jeszcze to słońce wiosenne zagląda mi w okna redakcyjne i tak się uśmiecha jak piękne dziewczę, pół dziecko — pół kobieta, bez płomieni gorących i sennej zmysłowości Heby dojrzałej. Nie pali a pieści oczami, nie żąda a całuje. I okna na rościeź otwarłem i chciałbym krzyczeć: „Evoe!“ Uśmiechasz się przyjacielu: „Krzycz sobie „Evoe“, ale pisz o stronnictwie narodowem.“ — Bodajś został polemistą! Bądź zdrowa wiosno, — pisać zaczynam o zimie.

Rozgniewał się „Dziennik Poznański“ na seryo, — co w tak sędziwym wieku jest niehygienicznem — i zwyczajem staruszków skarży się gorzko na przeciwników, błąka tu i owdzie, a całą ręką jądra zarzutów naszych tknąć się nie odważy. Więc przedewszystkiem żali się znowu na fatalne wpływy magicznego wyrazu „D o b r o w o l s k i“ i mówi z westchnieniem, że „nazwisko to działa na organ demokratycznej inteligencyi jak czerwona płachta na pewne zwierzęta.“ Porównanie to stare i w ostatnich zapasach stronnictw poznańskich zużyte, a w najświeższym wypadku niezupełnie stosowne. Czerwona płachta? Nie! szanowny Panie! Ale gdyby ktoś przy końcu dziewiętnastego wieku wybrał się w pogoń za szarakami z łukiem i oszczepem, to spoglądałbym na niego takiemi oczyma, jakiemi nieraz na organ twój patrzę. I gdy w Szekspirowskim Hamlecie widzę Poloniusza przędzącego sieci swoje „za tapetą“, gdy słyszę okrzyk duńskiego królewicza „Szczur!“ i widzę błysk stali przebijającej kotarę, to czasem zdaje mi się, że ty jesteś małym Poloniuszem. Protestujesz i chciałbyś wmówić w społeczeństwo poznańskie, że „za tapetą“ nie pracujesz nigdy, i że „tajność“ nie odgrywała żadnej roli w układaniu ostatniej listy komitetowej z firmą „stronnictwa narodowego.“ Nie chcę rozstrzygać, dla czego tryumwirat, działający z twego ramienia, skrył się w fałdzistym płaszczu tajemnicy, ale istnienie tej tajemnicy pozostaje faktem niezbitym mimo zaprzeczeń tak kategorycznych. Zapytaj się, dobry panie, swoich komiwojażerów politycznych. Czemu zapraszające na „posiedzenie w sprawie komitetu“ dodawali poufnym szeptem stręczycieli małżeństw: „Oczywiście — dyskrecya rzecz honorowa.“

Lecz tajne czy nie tajne, — to p r o i c o n t r a polemiki naszej nie rozsadza wcale. Dziennik przyciśnięty do muru zdecydował się udzielić pewnych wyjaśnień w sprawie „stronnictwa narodowego“, które tu cytujemy i n e x t e n s o:

„Stronnictwo narodowe nazywa „Przegląd“ stale stronnictwem „fikcyjnem“ i zdaje się uważać je za nowy wytwór polityczny. Aby wyjść z tego błędnego koła, w którem obracamy się od kilku tygodni, zaznaczamy, że stronnictwo narodowe jest wyrazem przekonań i dążeń licznego zastępu osób, grupujących się na około „Dziennika Poznańskiego“. „Nowemu“ stronnictwu nie brak więc ani programu, ani organizacyi... Spodziewamy się zresztą, że znajdzie się w niezbyt długim czasie sposobność do bliższego wyjaśnienia programu naszego stronnictwa.“

Brawo! To już pierwszy krok poważnego postępu. Mgły otaczające nową „narodówkę“ rozpływają się powoli, a Dziennik, który namiętnie ukochał czarującą dewizę: „piaskiem w oczy społeczeństwu!“ zdecydował się nareszcie z mętnej wody na przejrzystsze fale wypłynąć. Ta rózga Przeglądowa jednak cudów dokazuje. Nawet zatwardziałych grzeszników zmusza do pokory.

„Dziennik Poznański“ poszedł do Canossy i takie składa wyznanie: 1) Sprawa stronnictwa narodowego równała się „Kołu błędnemu“. 2) „Stronnictwo narodowe“ to koterya „Dziennika Poznańskiego“. 3) Nowemu stronnictwu nie brak ani programu, ani organizacyi. 4) Bliższe wyjaśnienia programu nastąpią niebawem. — Jest to kapitulacya na całej linii, bo cztery punkta powyższe zawierają nietylko potwierdzenie zarzutów naszych i domysłów, lecz co najważniejsze akt posłuszeństwa w obec tych zasadniczych postulatów, które zaprezentowaliśmy w dwóch ostatnich numerach „Przeglądu“. Było „błędne koło“, będzie program i organizacya. Mówimy „będzie“, bo „Dziennik Poznański“ uznaje potrzebę ściślejszego sformułowania i ustalenia własnego programu, aby go mianować programem stronnictwa, a powiastka o istniejącej organizacyi partyjnej zdradza tylko dobre zamiary na jutro, — porywy fantazyi na dziś. Organizacya? Pokażcie nam zarząd oficyalny? Któż go mianował? Gdzie i kiedy odbyły się wybory? Przecież pan Dobrowolski chyba nie przypuszcza, że społeczeństwo wiewać zacznie chustkami, gdy taką nowinę zwiastuje miastu i prowincyi: „Odsuwacie mnie od steru, niewdzięczni! Nazwisko moje na żadnych nie figuruje listach! Gdy wstąpię na trybunę, głuszycie mnie wrzaskiem szyderczym! A zatem obędę się bez was i sam siebie mianuję zarządem nowego stronnictwa.“

Sam siebie! — Smutna rola i smutne losów koleje! V a r r e! V a r r e! r e d d e m i h i m e a s l e g i o n e s!

Czekamy jutra, bo jutro to, jak zapewnia „Dziennik“, przyniesie nam te niezbędne f o r m y stronnictwa, o które przez dwa tygodnie upominał się „Przegląd“ naprożno, a przedewszystkiem przyniesie nam program. Dowiemy się zatem, jakim sztandarom służy nowe stronnictwo, czyli „Dziennik Pozn.“ Dotychczas w kameolonowych barwach oko szukało i ślepło. Co miesiąc inne kolory lub mgła gęsta i cisza bezduszna. Stronnictwu politycznemu taki program wystarczać nie może i dla tego witamy z uznaniem zapowiedź „Dziennika“, że zakładając stronnictwo, skrystalizuje zasady swoje, cele, i dążenia.

W obec tego, że „Dziennik“ w najświeższym artykule nic o kompromisie z „Kuryerem Pozn.“ nie wspomina, przypuszczamy również, że nowy kartel polityczny napotkał nieprzezwyciężone przeszkody, a organowi duchowieństwa nie pozostaje nic innego jak założenie własnego stronnictwa. O firmę łatwo. Jak to n. p. cudownie brzmieć będzie: „Stronnictwo sikawkowe proponuje na patrona towarzystw polskich pana Wittenburga“, lub „Partya pruska zaleca ogólną iluminacyą w dzień Sedanu“ albo wreszcie: „Stronnictwo rzymskie uważa zbieranie składek na fundusz Kościuszkowski za zgubną tromtadracyę i rekomenduje ofiarności społeczeństwa misye afrykańskie.“ — W obec takich okrzyków teraźniejszości i przyszłości lękałem się nieco, czy „stronnictwo narodowe“ nie powstanie na gruncie fatalnego kompromisu między „Dziennikiem“ a „Kuryerem Poznańskim“, bo pierwszy, mimo całej archeologii swojej i chorągiewkowych skłonności, zachował jednak jądro zdrowego patryotyzmu, umiarkowania i dumy narodowej, które rozpłynąć się mogły w lodowniach „Kuryera“. Znając Kuryerowe potęgi i wpływ ich na społeczeństwo, niepokoiło mnie jakieś głuche przeczucie, że w małżeństwie politycznem naszych „wielkich“ czasopism organ duchowieństwa odegra rolę męża i pana domu, a „Dziennik Pozn.“ rolę żony potulnej i służebnicy. Dziś kartel rozbity, a przepaść między eksnarzeczonymi rysuje się coraz wyraźniej. „Dziennik“ w najświeższych numerach przestał się modlić do „słońca berlińskiego“ i z niezwykłą energią wyparł się bóstw lojalizmu, którym niedawno jeszcze wspaniale palił hekatomby. Nie ma on wprawdzie bohaterskiej odwagi oświadczyć szczerze i otwarcie: „Zbankrutowałem“, ale likwiduje dyskretnie i po cichu skład prusofilskich umizgów i „do odwrotu“ nęci społeczeństwo. „Kuryer“ natomiast sztuczną reklamą pragnie powstrzymać bankructwo swoje i głosi na wszystkie strony, że dopiero teraz „rozpoczyna się rzeczywista polityka nowego kursu“, że „bujać w obłokach niedościgłej zasadniczości“ jest kardynalnym błędem politycznym, że zmartwychwstające hasło „usque ad finem“, to nędzny liczman patryotycznej frazeologii. Przy tej sposobności naturalnie sypią się uszczypliwe docinki na „kameleonowe przejawy „Dziennika Poznańskiego“, hołdowanie oklaskom tłumu i czczej krasomówczości, a wreszcie wróżba ponura, że skoro społeczeństwo zejdzie z drogi obranej, nastanie królestwo „burzycieli spokoju“. Aż mrowie przechodzi. Przypominają się mimowoli słynne opowiadania o ruchu ludowym — „tym rozsadniku Koscieleckich rozbojów“. Próżne mozoły! „Kuryer Poznański“ stanął dziś osamotniony i na urozmaicenie pustki starokawalerskiej woła sobie monotonnym głosem szafnerów kolejowych: „Einsteigen! Berlin, Potzdam, Pfaueninsel. Abfart in 5 Minuten.“ Szczęśliwej drogi! My zostajemy w Polsce.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Wychodzący we Lwowie „P r z e g l ą d W s z e c h p o l s k i“ poświęca następujące uwagi ostatnim politycznym wypadkom dzielnicy naszej:

„W zaborze pruskim życie polityczne w ostatnich czasach znacznie się ożywiło. Przyczynia się do tego działalność demokratycznej inteligencyi, grupującej się około „Przeglądu Poznańskiego“, wytrawnie prowadzonego tygodnika. Żywioły trzymające dotychczas w swych rękach władzę, poczęły uważać, że wpływ stopniowo tracą, uciekły się więc do znamiennego manewru. Mianowicie na ostatniem zgromadzeniu przedwyborczem w Poznaniu, gdzie chodziło każdemu z dwu głównych stonnictw o przeforsowanie swej listy kandydatów do komitetu wyborczego, partya „Dziennika Poznańskiego“ nie stawiając nowego programu, wystąpiła pod nazwą „stronnictwa narodowego“. Przeciwnicy uważają to za uzurpacyą, ale zaprzeczyć nie można dobrego pomysłu, gdyż w pewnych warunkach użycie tylko popularnego wyrazu za firmę już daje pewne korzyści. Stronnicy „Przeglądu Poznańskiego“ nie zdołali swej listy przeforsować, ale faktycznie panowali oni moralnie na wspomnianem zebraniu i przeprowadzili uchwały, wzywające Koło polskie do głosowania przeciw „ustawie przewrotowej“ oraz do porzucenia zasady bezwzględnej tajności uchwał.“

* *
*

I z a b e l l a M o s z c z e ń s k a. Kilka słów o dzisiejszem wychowaniu. Poznań 1895 r.

Drobna ta książeczka, licząca zaledwie 28 stronnic, zawiera mnóstwo cennych wskazówek dla wychowawców i pedagogów. Znana z prac swoich literackich autorka poddaje ostrej lecz sprawiedliwej krytyce ten system wychowawczy, panujący dziś jeszcze w szkołach i rodzinach, który wychowanie identyfikuje z tresurą, niwecząc indywidualizm dziecka, tamując jego ro-

zwój naturalny i przygniatając umysł nadmiarem nauki. I. Moszczeńska jest stanowczą przeciwniczką klasztornego wychowania, któremu dziś jeszcze hołdują nasze arystokratyczne domy, skazując córki swoje na działanie systemu zabijającego wszelką samodzielność i charakter w dziecku. „Jest to system negacyjny, który pragnie z wielu pojedyńczych osobników jedno wielkie „nic“ wytworzyć. Ztąd też wychowanki klasztorne, najlepiej nawet ułożone, wytresowane, opanowane, póki zostają w zakładzie — wychodząc z niego są zbiorem zupełnie prymitywnych skłonności i popędów. Nie są istotnie ani złe, ani dobre, często jedynie ze zwyczaju fałszywe i skryte, a właściwie zaczynają dopiero rozwijać się, kształcić, dojrzewać z chwilą wstąpienia w świat.“

Książeczka I. Moszczeńskiej odznacza się jak wszystkie inne prace tej autorki, stylem błyszczącym i argumentacyą logiczną. *-ski.*

* * *

Nr. 8 „P r z e g l ą d u W s z e c h p o l s k i e g o“, organu polskiego towarzystwa handlowo-geograficznego wyszedł i zawiera: Jedność narodowa, nap. Skr. — Brazylia a Texas, nap. R. Siemiaszko. — W sprawie wychodźtwa ludu naszego. — Z zaboru rosyjskiego. — Z całej Polski, nap. I. Zagiewski. — Korespondencye: z Litwy, z Prus Zachodnich, z Chicago, z Winnipeg, z Hamburga. — Dział ekonomiczny: Pocztowe giełdy pracy, nap. dr. Wiktor Ungar. — Dział informacyjny: W sprawie spadku po śp. Jakubie Gostkowskim. Ważne dla powracających do starego kraju. — Kronika życia polskiego. — Rozmaitości. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Ogłoszenia.

* * *

Część lwowskiej młodzieży akademickiej rozpoczyna od 1 maja wydawnictwo nowego dwutygodnika p. t. „S w o b o d a“. W prospekcie znajdujemy ustęp następujący:

„Każdy, kto dla swobody swego narodu, dla swobody ducha i sprawiedliwości, należnej wyzyskiwanym i uciemiężonym pracuje i walczy, ten nasz naturalny sprzymierzeniec, z którym pójdziemy, mając ten sam cel na oku, ręka w rękę. Ci zaś, co z serc naszych starają się wyplenić najszlachetniejsze uczucia i każą nam przenosić prywatę nad dobro publiczne, a w miejsce najwznioślejszych idei stawiają za boga cielca złotego i karyerę; ci, co krępują swobodny polot ducha ciasnemi ramami dogmatyzmu, co każdą myśl nową i śmiałą ścigają i prześladują, radzi wrócić do czasów św. inkwizycyi; ci, co dzięki przywilejom są pasożytami społeczeństwa i żyją kosztem klas roboczych; ci, co nam skąpią oświaty i szerszych mas roboczych do niej dopuścić nie chcą, by nie przejrzały, ci są naszymi wrogami, z którymi nam walkę toczyć przyjdzie.“

„Swoboda“ będzie właściwie dalszym ciągiem wydawanego „Życia“, które upadło głównie wskutek konfiskat c. k. prokuratoryi państwa.

* * *

Syn autora K i r g i z a p. J. Zieliński zaznaczył w T y g o d n i k u I l u s t r o w a n y m, że przyczyną długoletniego milczenia jego ojca, który zabłysnął niby meteor na niebie naszej poezyi i nagle zgasnął, był żal do krytyki za surowe osądzenie jednego z utworów późniejszych. Swój artykuł kończy syn wieszcza postawieniem tezy, iż jego ojciec jest jeszcze jednym przykładem więcej, jak krytyka niesprawiedliwa łamie i zniechęca do pracy ludzi utalentowanych. Czy to prawda? Odpowiedzą nam: „Fredro ojciec, zrażony krytyką, postąpił tak samo“. Nie, nie tak samo, bo zostawił nam sporo sztuk wielkiej wartości, lubo ich już za życia wystawiać nie pozwalał. Tymczasem p. Zieliński sam pośrednio przyznaje, że ojciec jego poezyę niemal zupełnie zarzucił, uprawiał natomiast studya historyczne i belletrystykę. Widocznie więc iskra poezyi, tlejąca w jego piersi, nie była tak silną, by wytrzymać silniejszy podmuch wiatrów zbyt ostrych i mroźnych. Gdyby było przeciwnie, wszelka, nawet najzjadliwsza krytyka, nie zdołałaby go powstrzymać od tworzenia. Przykładem Rodziewiczówna.

* * *

C e s a r L o m b r o s o. Miłość u obłąkanych, przekład z włoskiego. Warszawa, nakład K. Treptego, 1894, str. 96.

W statystykach psychiatrycznych znajduje się zawsze pewna liczba obłąkanych z miłości. Wogóle jednak procent ich jest bardzo mały (2 proc. — 3 proc.), a Lombroso sądzi, iż i tak statystycy zbyt wiele składają na miłość, bo zazwyczaj krewni mylnie ich informują. Na tysiące obłąkanych, z którymi L. miał do czynienia, mógłby najwyżej naliczyć tuzin wypadków podejrzanych o to iż miłość była ich przyczyną. Zupełnie jasny wypadek znał tylko jeden; objawiał się on milczeniem. Trzeba też wziąść na uwagę, że często miłość tylko przyspiesza wybuch choroby, będącej dawno w zarodku. O miłości wogóle Lombroso mówi nie wiele, a przytacza za to szereg wypadków płciowego zwyrodnienia, histeryi, nimfomanji, masturbacyi. Przewaga erotycznych zboczeń u kobiet ma źródło w ich ustroju płciowym. Jak zwykle wreszcie składa wiele Lombroso na wpływ dziedziczności.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne W sejmie pruskim przemawiał poseł nasz p. dr. Rzepnikowski w sprawie rozdziału komsyi jeneralnej w Bydgoszczy. — W dniu 8 maja odbędzie się w Berlinie zjazd radnych miejskich i członków magistratu wszystkich miast niemieckich, aby powziąść rezolucyę przeciw ustawie przewrotowej. — W Pradze rozpoczął się wielki proces anarchistyczny. Oskarżonych jest 17. Publiczność została wykluczoną. — W Paryżu wybuchło wielkie bezrobocie pomiędzy woźnicami tramwajów i omnibusów. — Rząd pruski zamierza przedłożyć projekt do nowego prawa o stowarzyszeniach i związkach. Projekt ten ogranicza podobno swobodę dotychczasową i jest rodzonym bratem ustawy przewrotowej.

Teatr i muzyka. Na scenie poznańskiej występuje gościnnie artystka teatrów warszawskich p a n i L e s z c z y ń s k a. Teatr, mimo znakomitej gry gościa naszego, świeci pustkami. Ocenę występów p. Leszczyńskiej zamieścimy w przyszłym numerze. — Sezon teatralny w Poznaniu kończy się 30 kwietnia. Trupa nasza udaje się do miast prowincyonalnych. Dyrekcya teatru w Krakowie wystosowała do komisyi teatralnej pismo, zawiadamiające, że w miesiącach czerwcu i lipcu urządza 40 przedstawień operowych: wystawione zostaną opery: „Halka“, „Straszny Dwór“, „Jawnuta“ (Moniuszki), „Traviata“, „Favorita“, „Mignon“, „Faust“, „Carmen“, „Pajace“, „Cavaleria rusticana“, „Marta“, „Bal maskowy“, „Lunatyczka“, „Rigoletto“, „Aida“, „Afrykanka,“ „Prorok“, „Lohengrin“. W przedstawieniach wezmą udział: Mira Heller, Konarska z Warszawy, Irena Abendroth, Strassern, Kasprowicz, Myszuga, Bandrowski, Jeromin, Górski z Medyolanu, Wołoszko itd. Dyrekcya uprasza: 1) o zwolnienie przez czas pobytu w Krakowie opery od opłaty czynszu dzierzawnego, 2) o zwolnienie przez ten czas z opłaty za oświetlenie, które w zasadzie uważa za bardzo wysokie; 3) o udzielenie choćby małej subwencyi, tem bardziej, że subwencya, wzięta ogółem, dla teatru miejskiego jest mniejsza. niż w teatrze starym, a ciężary znacznie i niestosownie większe; 4) o danie wyrazu w piśmie do Wydziału krajowego piekącej potrzebie podniesienia subwencyi dla teatru miejskiego w Krakowie. — W najbliższy czwartek odbędzie się na sali Lamberta w Poznaniu koncert Sokołów z współudziałem najwybitniejszych sił teatru naszego. Program obejmuje między innemi scenę więzienną z „Dziadów“ i ćwiczenia gimnastyczne. — Najnowsza komedya K. Zalewskiego p. t. „Łotrzyca“ doznała w Krakowie nader sympatycznego przyjęcia. — O nowym utworze Pawła Lindaua p. t. „Die Venus von Milo“ wyraża się pochlebnie krytyka drezdeńska. — W paryzkiej Operze komicznej wystawiono operę zmarłego przedwcześnie Benjamina Godarda p. t. „Wiwandjerka“. — W Wilnie ma być zbudowany nowy teatr rosyjski między górą Zamkową a ogrodem botanicznym. — Dowiadujemy się, że dyrekcya teatru poznańskiego zamierza w przyszłym sezonie zmienić reżyseryę. — Teatr krakowski zakupił głośną szłukę włoskiego autora R o v e t t a p. t. M a r c o P r a g a.

Na kongresie prasowym i drukarskim, odbywającym się obecnie w Petersburgu i zostającym pod protektoratem w. księcia Konstantyna Konstantynowicza, tajny radzca Kazi, prezes rosyjskiego Tow. technicznego, miał mowę, którą uważać można do pewnego stopnia za odpowiedź na odrzucenie petycyi literatów i dziennikarzy, wniesionej do cara w sprawie zmiany ustawy prasowej. Kazi powiedział w swej mowie, że prasa jest dla Rosyi i wogóle dla nowożytnych społeczeństw rzeczą tak olbrzymiej doniosłości, że ograniczenie zakresu działania prasy i pozbawienie jej wolności jest dla społeczeństwa tem samem, czem dla jednostki pozbawić ją daru mowy. Prasa w Rosyi obejmuje wszystkie gałęzie pracy, na którą składa się sztuka, literatura i wiedza: wobec tego rozszerzenie zakresu wpływu opinii publicznej, nadanie prasie większej swobody, równa się podniesieniu pracy intelektualnej dla ogólnego poziomu oświaty społecznej.

Mowa Kazi'ego zrobiła wielkie wrażenie. — Równocześnie sekretarz zjazdu, generał Olszewskij, zapowiedział odczyt o potrzebie zmiany obowiązującej ustawy o cenzurze.

Pomiędzy członkami kongresu znajduje się także hr. Leon Tołstoj.

Kongres lekarski. Na posiedzeniu kongresu lekarskiego, obradującego w Monachium, toczono obszerną dyskusyę nad surowicą antydyfteryczną. Z dyskusyi tej podajemy krótkie streszczenie: Prof. Stintzing z Jeny oświadczył, że z dotychczasowych doświadczeń nie może jeszcze stwierdzić niezwykłego leczniczego działania surowicy; jednak stanowczo jest za tem, aby środka tego nadal używano i robiono z nim ciągłe próby. Dr. Trump z Gracu przedłożył zebraniu bardzo zajmujące szczegóły o rozszerzaniu się zarazka dyfterycznego i wykazywał, że bakcyl dyfteryczny utrzymuje się u osób chorych nadzwyczaj długo: znajdowano go u tych osób nawet w trzy miesiące po zupełnem wyleczeniu, i to nietylko w gardle, ale także na innych błonach śluzowych, n. p. w nosie, oczach i t. d. W nosie i oczach znajdowano bakcyle dyfteryczne nawet u tych dzieci, które na dyfteryą nie chorowały, lecz tylko się stykały z dziećmi choremi. Dla zapobieżenia przeto rozszerzaniu się dyfteryi należy dokładnie dezynfekcyonować mieszkania, w których leżały na dyfteryą chore dzieci, i wszelkie należące do nich przedmioty, a dzieci zdrowe, które mimowoli stykały się z choremi, należy ochraniać przed dyfteryą szczepieniem antydyfterycznej surowicy. Dr. Möhring dowodził, że surowica zmniejszyła znacznie śmiertelność chorych na dyfteryę. Mówca leczył 74 chorych, z których umarło ; dawniej, kiedy jeszcze nie leczono surowicą, na 74 chorych umierało przeciętnie 30. Prof. Vierodt z Tubingen twierdził, że, używając surowicy, uzyskał świetne rezultaty i radził, aby nią dalej leczono. Również pochlebne świadectwo surowicy wydał dr. Nott. Dyskusyę nad tą sprawą zakończył prof. Heubner z Berlina. Podniósł on, że żaden z mówców nie zrobił zarzutu, jakoby wstrzykiwanie surowicy szkodziło organizmowi chorego dziecka; natomiast wszyscy jednozgodnie stwierdzili, że od czasu używania jej śmiertelność wśród osób chorych na dyfteryę znacznie się zmniejszyła. O trzeciej ważnej sprawie, a mianowicie o tem, czy zaszczepienie surowicy chroni od dyfteryi, jak szczepienie ospy od ospy, zdaniem mówcy, jeszcze nic stanowczego powiedzieć nie można. Należy w tym kierunku robić dalsze próby i czekać ich skutku. W końcu przyjął kongres następujące wnioski prof. Heubnera: Kongres, oparty na czynionych dotychczas próbach z surowicą, oświadcza, że ona nie jest szkodliwą, lecz, owszem, w leczeniu daje pomyślne rezultaty, nie wypowiada zaś żadnego zdania w sprawie ochronnego szczepienia surowicy, gdyż w tym kierunku nie osiągnięto jeszcze dokładnych i dostatecznych rezultatów. Na tem dyskusyę zakończono.

Z m a r l i:

Aleksander Michaux, znany w literaturze polskiej pod pseudonimem M i r o n a, zdolny poeta liryczny, dawny współpracownik „Kuryera Warszawskiego“, zm. w Warszawie przed kilku dniami.

Bogumił Foland, wiceprezes teatrów warszawskich, zm. w bieżącym tygodniu w Warszawie.

W. K. Zieliński, znany powieściopisarz („Anna Orzelska“, „Ostatnia z rodu“, „W kraju Arpada“ i t. d. i heraldyk, zm. przed dwoma tygodniami w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Akcyonaryuszowi z Kujaw. Odpowiemy listownie w początkach przyszłego tygodnia. Dziś przesyłamy tylko wyrazy szczerego podziękowania.

L. S. Długi artykuł pański streścić można w słowach: „Emancypacya jest nonsensem, bo nie ma uczonej kobiety, którąby umiała gotować.“ Jeżeli Pan innych zarzutów przeciw emancypacyi wytoczyć nie zdołasz, to wątpimy, czy polemiki panskie znajdą gościnność w poważniejszych pismach.

Excelsior. Autorem Marsylianki francuzkiej jest R o u g e t d e l'I s l e. Kto jest autorem tak zwanej „Arbeitermarseilleuse“ — nie wiemy. Utwór ten jednak nie należy bynajmniej do najświeższych.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

M. Tyc z Monachium 1,75 Mr.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 721,50 Mr.

Do preliminowanej sumy 1000 Mr. brakuje zatem jeszcze 278,50 Mr. O składki prosimy gorąco.

Nr. 18. Poznań, Niedziela 5go maja 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Pogrom Koźmiana.

(K. Bartoszewicz. Rok 1863. Historya na usługach ludzi i stronnictw.)

Czytelnicy „Przeglądu“ przypominają sobie zapewne obszerną krytykę „Rzeczy o roku 1863“ p. Stanisława Koźmiana, którą drukowaliśmy w naszem piśmie. Autor krytyki, znakomity historyk i publicysta Kazimierz Bartoszewicz, wykazywał jak marnym, pełnym fałszów i przekręceń zlepkiem jest owo arcydzieło pana Koźmiana, reklamowane silnie przez całą klikę Stańczykowską. Recenzya ta p. Bartoszewicza była tylko szkicem, który rozwinął na znaczną skalę i wydał obecnie pod tytułem: „Rok 1863 — Historya na usługach ludzi i stronnictw.“ Nie jest to już recenzya, krytyka, ale dzieło wykazujące całą obłudę stronnictwa i przynoszące wiele ciekawych szczegółów i faktów do historyi roku 1863.

Nie będziemy tego dzieła szeroko streszczali, bo właśnie, to co umieszczał p. Bartoszewicz w „Przeglądzie“ było jego streszczeniem. W krótkości tylko zwrócimy uwagę na ustępy i rozdziały całkiem nowe, które nie znalazły miejsca w szkicu napisanym dla naszego „Przeglądu“.

Książkę poprzedza przedmowa autora, w której wykazuje, iż żadne względy osobiste lub stronnicze nie mogą wpływać na jego ocenę wypadków roku 1863 W chwili wybuchu autor był jeszcze dzieckiem, a ze szczupłego jego grona rodzinnego nikt nie należał do organizacyi i nie było w niem nikogo w tym wieku, coby obowiązywał zaciągnąć się do walczących szeregów. Młodzieniec spędził lata tam, gdzie o powstaniu pisać nie było wolno. „Kiedy w Galicyi wrzała w najlepsze walka o to: czy powstanie było potrzebne i kto zawinił, myśmy na bruku warszawskim nie kłócili się, nie oskarżali wzajemnie, a tylko liczyli i leczyli rany zadane. Z młodzieży i starszych, którzy poszli na plac boju, lub należeli do organizacyi, co nie poległo, poszło na Sybir, lub emigrowało. Nie było nawet komu wszczynać wojny domowej — wszyscy co pozostali, byli złączeni, zbratani jedną wspólną niedolą“. To też po przybyciu do Galicyi autor „z uczuciem niewymownej przykrości przyglądał się dziwnemu rozbratowi społeczeństwa, a jeszcze więcej środkom w tej domowej wojnie przez stronnictwa używanym“. To go wstrzymało od zaciągnięcia się pod jakiekolwiek sztandary. Pozostał bezstronnym widzem, a stąd nie ma uprzedzeń ani do ludzi, ani do stronnictw, a dzieło p. Koźmiana „brał do ręki tak jak każdą pracę histryczno-polityczną z ciekawością, co się w niej znajduje i czego z niej się dowie“.

Po tem określeniu swego stanowiska przystępuje p. Bartoszewicz do recenzyi dzieła p. Koźmiana. Ramy pisma tygodniowego nie pozwalają nam iść krok za krokiem i wykazywać całego szeregu kłamstw i sprzeczności, jakie wylicza autor p. Koźmianowi. Niektóre z nich zresztą są już znane czytelnikom, a więc poprzestaniemy na przytoczeniu całkiem im nieznanych i więcej rażących.

Jak wiadomo p. Koźmian na początku swego dzieła chwali się, że znalazłszy w Krakowie po wybuchu powstania konserwatystów „przerażonych i bezradnnych, umiał znaleść dla nich sposoby wyjścia i zachowania się.“ Pan Bartoszewicz przedstawia w dłuższym ustępie kto to byli ci konserwatyści bezradni, a samo wyliczenie nazwisk wykazuje jasno, iż w Krakowie wówczas znajdowały się najtęższe, najdzielniejsze głowy partyi konserwatywnej. Byli to ludzie powagi, znaczenia, ogromnych wpływów, zasad wyrobionych, a przytem ludzie odznaczający się stanowczością zdania. „Pewność pana Koźmiana, że to on ich wyrwał z bezradności jest zaiste rozczulającym objawem wiary we własną potęgę umysłową.“ Ale pewności tej fakta zaprzeczają — i tu p. Bartoszewicz przytacza dowód za dowodem, że ci konserwatyści, przy których p. Koźmian był zerem, mieli swoje o wypadkach wyrobione zdanie, że koźmianowskiego głosu nawet nie słuchali.

Dalej łapie p. Bartoszewicz p. Koźmiana na kłamstwie tyczącem się mniemanych stosunków jego z „białymi“ warszawskimi. Rzecz to wprawdzie drobna, ale charakteryzująca p. Koźmiana, ponieważ jedyny fakt, jaki na poparcie twierdzenia swego podał, okazuje się kłamliwym.

W dalszym ciągu mamy charakterystykę źródeł p. Koźmiana, charakterystykę, która nas upewnia, iż p. Koźmian poprzestał na przepisywaniu i to niedokładnem, często umyślnie fałszywem, „Czasu“ z roku 1863.

Opuszczamy następujący rozdział, ponieważ umieszczony był prawie całkowicie w naszym „Przeglądzie.“ Zaznaczamy tylko, iż uzupełnił go p. Bartoszewicz wyjątkami z nadzwyczaj rzadkiego pisma „Naprzód“ wydawanego w r. 1863 przez Szujskiego. Wyjątki te służą za dowód niezbity, iż cały ustęp o Szujskim w dziele p. Koźmiana jest znowu od początku do końca kłamliwy.

W pierwszej części następnego rozdziału zajmuje się p. Bartoszewicz z właściwym sobie talentem krytycznym sprawą dymisyi Rady stanu, o czem tylko nawiasem wspominał w naszym „Przeglądzie“. Z przedstawienia przez niego rzeczy okazuje się, że p. Koźmian nietylko nie ma pojęcia o tym fakcie, ale że go znowu wyzyskał kłamliwie dla własnej chwalby. Następuje z kolei znany czytelnikom naszym ustęp o pobycie p. Koźmiana u Langiewicza, ale uzupełniony on został bardzo dokładnem przeprowadzeniem dowodu, że p. Koźmian nie był u dyktatora Langiewicza w Goszczy jako wysłannik Hotelu Lambert — całe więc opowiadanie p. Koźmiana o tem swojem poselstwie jest znowu czystą bajką, napisaną w przekonaniu, że nie znajdzie się nikt, ktoby ją wykazał.

Z kolei zajmuje się p. Bartoszewicz stanowiskiem śp. Pawła Popiela w r. 1863. Stanowisko to bardzo dla Popiela zaszczytne, a będące w skrajnej sprzeczności ze stanowiskiem p. Koźmiana i grona jego przyjaciół politycznych. Z gryzącą ironią przedstawia p. Bartoszewicz kontrast pomiędzy konserwatystami z zasady, a konserwatystami z interesu. Mielibyśmy ochotę cały ten ustęp żywcem przedrukować, ale podobnych ustępów, które zasługują na przedruk jest tak wiele, że musielibyśmy ograbić pół księgi książki p. Bartoszewicza.

Pomijamy pobyt p. Koźmiana w Paryżu, który w głównych zarysach znany jest naszym czytelnikom, a przystępujemy od razu do rozdziału o amnestyi, z którego dowiadujemy się, do jakiego stopnia p. Koźmian szuka pomocy dla siebie i dla swoich w fałszu, do którego przymiotnik niech sobie sami dorobią czytelnicy. Amnestyi ogłoszonej przez cara poświęcił p. Koźmian osobny rozdział. Musimy go streścić, ażeby czytelnik zrozumiał całą potęgę „prawdy“ wychodzącej z pod pióra p. Koźmiana.

P. Koźmian tak rzecz opowiada: 12 kwietnia przed południem przyszedł do redakcyi „Czasu“, gdzie zastał członka redakcyi Szukiewicza, który trzymał świeżo odebrany telegram o amnestyi. Car obiecywał wprowadzać dalej reformy, dążące do autonomji Królestwa i „przebaczyć“ wszystkim, którzy złożą broń w ciągu miesiąca. Ważną więc było rzeczą, jak się zachować w obec tego aktu. P. Koźmian opowiada jak przyszli do redakcyi „Czasu“ Adam Potocki i Henryk Wodzicki, którzy byli za bezwarunkowem przyjęciem amnestyi. Dalej szeroko opisuje autor Rzeczy jak się z nimi sprzeczał, a po ich wyjściu nie wiedział co czynić, bo dochodziły wieści, że Francya, Austrya i Anglia wystąpią za Polską w Petersburgu. Przyjąć amnestyę to znaczyło sparaliżować wdanie się mocarstw, to może znaczyło nawet stawić zaporę utworzeniu Polski niepodległej. Nie

przyjąć amnestji to znowu źle, bo jeżeli mocarstwa nie wystąpią, to amnestja jest jedynym ratunkiem dla kraju, gdyż powstanie bez pomocy obcej pogrąży go w przepaść. P. Bartoszewicz słusznie mówi, iż niepotrzebnie troszczył się p. Koźmian, bo nie od niego zależało wpłynąć na przerwanie powstania; decydować w tej sprawie mógł jedynie Rząd Narodowy warszawski i rzeczywiście zdecydował, odrzucając amnestję, ale p. Koźmian dalej szczegółowo i prawie powieściowo opisuje swoją walkę wewnętrzną. Poszedł wreszcie do właściciela „Czasu“ Kirchmajera, ażeby z nim się naradzić, i kiedy się już długo naradzali, przyszedł posłaniec z urzędu telegraficznego z depeszą donoszącą, że noty mocarstw odeszły do Petersburga. W obec tego nie było potrzeby dalej się zastanawiać: Europa jest za nami, amnestję więc trzeba odrzucić, nie sprzedawać sprawy za miskę soczewicy. Wydał więc p. Koźmian N a d z w y c z a j n y d o d a t e k d o „C z a s u“, w którym oświadczył się za odrzuceniem amnestji.

Całe to opowiadanie stanowi, jak zaznaczyliśmy osobny rozdział, a oparte jest na tem, iż telegram o amnestji przyszedł na kilka godzin przed telegramem o notach i wskutek tego sprowadził ową straszną walkę w umyśle p. Koźmiana, starcie się z Potockim i Wodzickim, naradę z Kirchmajerem i t. p.

Dajmy teraz głos p. Bartoszewiczowi:

„Nie zaprzeczyłem prawdziwości tego opowiadania (mówi tu p. B. o recenzyi swojej umieszczonej w naszym „Przeglądzie“), bo lubo mogło ono być fantazyą, zdawało mi się, iż trudno byłoby znaleść dowód na to, że p. Koźmian prawi nam bajeczki. Umarli wszyscy czterej świadkowie: Szukiewicz, Potocki, Wodzicki i Kirchmajer — gdzież więc sposób przekonać się, czy p. Koźmian pisze prawdę? Przyznaję, że byłem nieostrożnym, że zapomniałem, iż żyje jeszcze piąty świadek: Dodatek nadzwyczajny do Nr. 83 „Czasu“ z dnia 12 kwietnia 1863 r.“

„Poszukując w ostatnich dniach za czem innem, przypadkowo nawinął mi się ów „nadzwyczajny dodatek“, z którego dowiedziałem się, iż c a ł y r o z d z i a ł o a m n e s t j i w k s i ą ż c e p. K o ź m i a n a j e s t f a r s ą, k ł a m s t w e m o d p o c z ą t k u d o k o ń c a.“

„Oto pierwsze słowa owego Dodatku: „W c i ą g u d n i a d z i s i e j s z e g o otrzymaliśmy następujące depesze: P i e r w s z a d e p e s z a w y s ł a n a z P a r y ż a 11 k w i e t n i a w i e c z o r e m brzmi: Paryż, 11 kwietnia. Noty trzech mocarstw“ — i t. d. D r u g a d z i ś p o p o ł u d n i u o t r z y m a n a brzmi: „Petersburg 12 kwietnia. Wyszedł manifest cesarski“ i t. d.

„A więc depesza o notach przyszła pierwsza i ją mógł zastać p. Koźmian 12go p r z e d p o ł u d n i e m w redakcyi „Czasu“, a nie depeszę drugą o amnestyi, która nadeszła po południu. Całe więc szerokie jego opowiadanie o tem jak walczył sam z sobą, jak ścierał się z Potockim i Wodzickim, wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów, bo nawet do owego posłańca, co miał przynieść telegram do Kirchmajera upada najzupełniej tak samo jak i to, że dopiero depesza o notach miała wyprowadzić p. Koźmiana z położenia, w jakie go wtrąciła depesza o amnestji. Nawet w artykule redakcyi, po przytoczeniu tych depesz, umieszczonych w D o d a t k u, znajduje się wyraźnie zaznaczenie, że manifest amnestyjny „pojawił się nazajutrz“ po wysłaniu not do Petersburga.“

„Niech się więc nikt nie dziwi, iż chrzcząc dotychczas „figle“ p. Koźmiana, „brakiem pamięci“, w tym wypadku nie mogłem się powstrzymać od nazwania ich kłamstwem. I tylko dziwić mi się wypada, iż taki mistrz w tym fachu, taki znakomity teoretyk, w praktyce do tego stopnia pokazał się niezręcznym i nieoględnym.“

Po tym kapitalnym dowodzie jak p. Koźmian nie cofa się przed żadnem kłamstwem, jak nie można wierzyć niczemu, co sam od siebie podaje, nie będziemy już dalej wyliczać rozmaitych jego fantazyi, które p. Bartoszewicz w dalszym ciągu wylicza. Dodamy jeszcze, iż w tej części książki pana B. znajdują się świetne ustępy, tyczące się etyki p. Koźmiana, a jaka to etyka, to chyba każdy się domyśli.

Druga część książki p. Bartoszewicza, z której nie było ani wiersza w naszym „P r z e g l ą d z i e“, jest pracą oryginalną, kreślącą dzieje akcyi dyplomatycznej trzech mocarstw od wybuchu powstania do końca lipca. Napisał ją p. Bartoszewicz w tym celu, ażeby wykazać z jednej strony nikczemne krętaniny dyplomatyczne, których padliśmy ofiarą, a z drugiej strony, aby pokazać jak kłamliwem jest twierdzenie p. Koźmiana, że przyszli stańczycy byli pchani wyższą koniecznością do wzięcia udziału w ruchu. Całej tej części nie streszczamy, gdyż pozostałby suchy szkic rzeczy, której wagę stanowią troskliwie pozbierane szczegóły, a więc nie streszczać, lecz w całości tę całą część przedrukować by należało, na co naturalnie miejsca nam nie wystarcza. P. Bartoszewicz nie pisze historyi akcyi dyplomatycznej tak jak ją dziś znamy z licznych wydawnictw i pamiętników, lecz pisze na stanowisku obserwatora z r. 1863. Chodzi mu bowiem o to, aby przedstawić, co za czasów powstania wiedziano o tej akcyi, jakie więc ona wrażenie wywołała, do czego mogła zachęcać, lub od czego odstręczać. Tylko w przypiskach wyjaśnia autor wiele szczegółów, oświetlanych dzisiaj przez wydane dokumenty, pamiętniki i t. p. Ponieważ książka p. Koźmiana w pierwszym tomie tyczy się specyalnie Galicyi, przeto do opowiadania swego wprowadza pan B. zachowanie się w Galicyi rządu austryackiego. Prócz tego bada p. B. ówczesną opinię publicystyki polskiej, tyczącą się owej spodziewanej interwencyi europejskiej. Z badań tych widzimy, że właściwie tylko „Czas“, redagowany przez p. Koźmiana, na wielką skalę okłamywał polskie społeczeństwo, przez co wpływał na przedłużanie powstania, które to przedłużanie było stokroć razy większą klęską, aniżeli sam jego wybuch. Na pochwałę dziennikarstwa naszej prowincyi zaznaczyć należy, jak tego dowodzi p. Bartoszewicz, iż dzienniki poznańskie bardzo rozumnie, bo sceptycznie zapatrywały się na krętaniny rządu francuskiego, angielskiego i austryackiego.

W tej drugiej części książki p. Bartoszewicza znajduje się jeszcze jeden nadzwyczaj ciekawy ustęp. Autor opisuje jak po upadku dyktatury Langiewicza władze narodowe galicyjskie zażądały od przybyłych do Krakowa członków Rządu Narodowego, aby zawiesiły powstanie, nie mające już żadnej szansy powodzenia. I wówczas to z protestem przeciwko zakończeniu powstania wystąpili konserwatyści krakowscy, mający nadzieję najzupełniej nieuzasadnioną interwencyi europejskiej. Z faktu tego, opowiedzianego dokładnie, wysnuwa p. Bartoszewicz następujące wnioski: „Była to chwila, w której jeszcze cały system Wielopolskiego uratować by się dało. Wszak ten system nie był jeszcze zniesiony, wszak car zapewniał Napoleona, że pozostawi nietylko dane już ustępstwa, ale jeszcze nowemi je uzupełni (to samo w parę tygodni później obiecywał i w manifeście amnestyjnym). Powstanie byłoby pozostawiło po sobie wiele łez i bólu, ale rany prędko by się zagoiły, a w każdym razie Królestwo nie stałoby gorzej niż przed jego wybuchem. Klęską powstanie już by nie było, klęską się stało jego przedłużenie i tego przedłużenia następstępstwa. Jeżelibyśmy więc dziś, idąc za p. Koźmianem, mieli poszukiwać najwięcej winnych, jeżeli chcielibyśmy „rozkładać odpowiedzialności“, jeżelibyśmy mieli wykazywać, gdzie był większy „bezrozum, lekkomyślność, a w końcu szał“, to doprawdy mielibyśmy co najmniej do rozwiązania pytanie; czyja większa była wina: czy konserwatystów przedłużających powstanie, czy Komitetu Centralnego, który je rozpoczął? Tak jest, j e ż e l i r z e c z y w i ś c i e m o g ł o p o w s t a n i e b y ć z a k o ń c z o n e m i j e ż e l i t o s i ę n i e s t a ł o z w i n y g a r s t k i o w y c h k r a k o w s k i c h k o n s e r w a t y w-

---

WŁADYSŁAW RAESKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(Ciąg dalszy).

Scena XI.

Marta, później Wolski.

MARTA.

Poszli... (*idzie do okna, patrzy przez chwilę, potem przebiega scenę szybkiemi krokami.*) Boże! co ja mu powiem? (*Załamuje ręce, rzuca się w fotel i pogrąża się w głębokiej zadumie. Po chwili drzwiami frontowemi wchodzi Wolski*). A! (*zrywa się i biegnie ku niemu*).

WOLSKI.

Marto! (*tuli ją do siebie*).

MARTA.

Zygmuncie! jedyny...

WOLSKI (*wypuszcza ją z objęć swoich, lecz trzyma jej ręce.*)

Czas nagli. Czy wiesz o wszystkiem?

MARTA.

Wiem. Ojciec zabronił i... (*ledwie dosłyszalnym głosem*) zelżył.

WOLSKI.

Co? ten...

MARTA.

To nic. Nie mów ty nic na niego. On ojciec.

WOLSKI.

Ojcostwo nie daje prawa pastwić się nad dzieckiem.

MARTA.

Zygmuncie!

WOLSKI.

Zdzieram niezdrową przesadę, w którą ludzie prawa ojcowskie ubrali. On dwa ludzkie serca z niemiłosiernym cynizmem składa w ofierze społecznym przesądom. A my? Mamyż z pokorą jagniąt iść pod nóż kapłański?

MARTA (*cicho*).

On ojciec.

WOLSKI.

Ojciec? Więc na targ nieś serce, bo tak pan twój każe. Ojciec? Cóż z tego? To wróg!

MARTA.

Zygmuncie! nie mów tak. Mur czarny między nami... Ja się boję... Czego ty żądasz odemnie?

WOLSKI.

Ten mur czarny my w proch roztrącimy, tylko ty bądź silną. Wobec świata i przeciw światu stańmy nierozłączeni.

MARTA.

Przeciw ojcu? Nie nie... to słowo strachem przejmuje,... ja nie mogę Zygmuncie.

WOLSKI (*błagalnie*).

Nie mów tego, nie mów...

MARTA.

Widzisz... przysięgam... tych siwych włosów się lękam. Życie moje bez jutra, ale tak być musi... musi.

WOLSKI.

Zgasiłaś słońce... (*słychać grzmot oddalony za sceną.*) Idź już... (*gwałtownie*) idź helotko konwenansu, gdzie roje marjonetek salonowych czekają na ciebie.

MARTA.

Miej litość...

WOLSKI.

Idź i zbieraj liście zwiędłe w ogrodzie ojca twego, a jeżeli one mówić ci będą o ruinach życia, to napisz sonet i zapomnij.

MARTA (*chwyta go za rękę*).

Nie bluźnij Zygmuncie, bo tu straszny ból. (*Wskazuje na serce. Słychać grzmot silniejszy.*) Strach mnie ogarnia (*tuli się do niego*).

WOLSKI (*chwyta ją namiętnie w objęcia*).

Przebacz... ale sam już nie wiem, co mówię, co się dzieje ze mną. Nie! nie! Ty nie opuścisz, bo śmierć bez ciebie i pustka.

MARTA (*słabym głosem*).

Mrok duszę ogarnia i sama nie wiem, gdzie Bóg, a gdzie szatan.

nych mężów stanu, to cała odpowiedzialność za klęskę spada na nich, to nie oni powinni byli później na krzyż innych wbijać i potępiać, lecz sami powinni byli być ukrzyżowani i przez ogół potępieni".

Na historyi akcyi dyplomatycznej kończy się pierwszy tom studyum p. Bartoszewicza. Tom drugi, jak się dowiadujemy z umieszczonego na czele książki zawiadomienia, będzie obejmował szkic udziału Galicyi w powstaniu roku 1863, dokończenie rozbioru Rzeczy pana Koźmiana, oraz ogólne uwagi nad traktowaniem wypadków roku 1863 ze stanowiska narodowego.

Trudno nie przyznać pewnej zasługi panu Koźmianowi. Gdyby nie jego tendencyjna i fałszywa Rzecz o r. 1863, nie byłoby książki p. Bartoszewicza, tak jasno przedstawiającej złą wolę, obłudę i „budowanie na kłamstwie" ludzi, którzy chcą się narzucić społeczeństwu na moralnych jego przewodników. Gdyby nie p. Koźmian, nie wydobyłby p. Bartoszewicz tylu ważnych szczegółów rzucających światło na wypadki r. 1863. A ponieważ tych szczegółów jest obfitość wielka, więc znów należy podziękować p. Koźmianowi, że swoją złą i nieprawdziwą Rzeczą dał bodźca do napisania Rzeczy prawdziwej i dobrej.

Krytyka p. Kazimierza Bartoszewicza, ujęta w ramy obszernej historycznej rozprawy, odznacza się wszystkiemi znamionami talentu, którémi autor ten zyskał sobie rozgłośne imię w literaturze polskiej. Objektywizm Bartoszewicza, żelazna logika, temperament polemiczny i szeroka wiedza historyczna podały sobie ręce, aby zagasić sztuczne blaski, którémi reklama Stańczykowskiego stronnictwa ozdobiła książkę p. Koźmiana. Dziś z okrzyczanej „Rzeczy" zostały tylko ruiny świadczące wymownie, że w społeczeństwie naszem nie wolno jeszcze bezkarnie fałszować dziejów w interesie koteryi politycznej.

—ski.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„Gazeta Opolska" poświęca takie uwagi spółce K. H. T.:

„Polakożercza spółka KHT agituje w Poznańskiem i w Prusach Zachodnich wszelkiemi sposobami, aby tylko żywioł polski zgnieść i zniszczyć. Nie dosyć na tem, sławetna spółka zamierza także, jak donosi poznański „Tageblatt," swoją działalność rozciągnąć na Górny Ślązk.

Co właściwie spółka na G. Ślązku chce robić, tego domyślić się trudno. Wszystkie bowiem ważniejsze posterunki, nadto kapitały w gotówce lub też w fabrykach i kopalniach się mieszczące, znajdują się w rękach Niemców lub żydów. Ślązk niestety od wieków jest zawojowany w swych warstwach górnych.

Spółce KHT. pozostaje więc jedynie walka z ludem. Wprawdzie to wielkie i doniosłe zadanie, ale czy panowie germanizatorzy ze spółki KHT. oddają się rzeczywiście tej nadziei, iż chłopi i robotnicy polscy pozwolą się przez nich zawojować, gdy się oparli wielkiej wojnie, wypowiedzianej im przez ks. Bismarcka.

Potęga ludu polskiego na Ślązku jest silniejszą, aniżeli wszelkie zapędy, podobnych związków, jak spółka KHT.

Ślązk spał — książę Bismarck go obudził — spółka KHT. przetrze mu jeszcze więcej oczy. — Wszystko, jak widać, na chwałę narodu polskiego, który bezwarunkowo nie jest skazany na wymarcie, gdy się z nim tak liczą silni nawet przeciwnicy."

Berlińska „Gazeta Polska" (Nr. 33) rozpisuje się w następujących słowach o walkach politycznych w W. Ks. Poznańskiem:

„Współzawodnictwo stronnictw politycznych, dążących różnemi drogami, ale z jedną wspólną myślą i z wiarą w swoje przekonania do celów ogólno-pożytecznych, zawsze wychodzi na dobre krajowi i społeczeństwu, wśród którego się te walki stronnictw rozgrywają. Widzimy tego dowód w stosunkach poznańskich, gdzie coraz żywsze ścieranie się zdań wywołało korzystny dla sprawy ogólnej ruch umysłowy, i przyczyniło się do politycznego uświadomienia szerszych mas ludności. Dwadzieścia lat wstecz mniej było burzliwych zebrań w Poznaniu, ale i mniej ludzi poczuwających się do pracy społecznej. Dziś rzemieślnicy mniejsi więcej biorą udziału w sprawach narodowych, jak dawniej niejeden lekarz, inżynier itd. w miastach nietylko pomniejszych, ale i w samym Poznaniu, dziś robotnicy prości więcej dbają o postęp ogólny narodu, niż dawniej niejeden ziemianin — a inteligentniejsze warstwy tem samem dzisiaj, nie chcąc się dać zawstydzić maluczkim, krzątają się stokroć żywiej około wspólnych prac narodowych. Powodem tego rozbudzenia ducha narodowego, przygotowanego od dawna pracami żarliwych narodowców, jak Marcinkowski i inni, jest wysoko rozwinięte dziś w Poznaniu współzawodnictwo stronnictw politycznych. Byli i dawniej ludzie różnych przekonań, postępowszych i mniej postępowych, ale różnice nie uwydatniały się bardzo, tem więcej, że walka kulturna pochłaniała siły wszystkich bez wyjątku. Równocześnie jednak taż sama walka wciągać zaczęła w zakres pracy narodowej masy ludu, stojące dotąd zupełnie prawie na uboczu, polegające zupełnie na tem, co za nich myśleli duchowni i ziemianie."

Bytomski „Katolik" (Nr. 50) poświęca dłuższy artykuł ustawie przewrotowej i takie między innemi wygłasza opinje:

„Największe niebezpieczeństwo groziłoby tym pismom, które najgruntowniej lud z wszelkiemi sprawami, mianowicie też społecznemi zapoznawają, które najgłębiej do tych spraw sięgają, które na socyalno-chrześciańskiem stanowisku stoją. Ztąd wynikłaby wielka szkoda dla ludu polskiego, bo właśnie pisma, chcące go wykształcić na prawdziwego obywatela myślącego i działającego w sprawach publicznych, najtrudniejsze by miały stanowisko. Toby mogło doprowadzić do wyjałowienia życia publicznego, odstraszyłoby od zajmowania się gruntownie poważnemi sprawami, przyzwyczaiłoby nas do powierzchowności i cofnęłoby wstecz rozwój ludu polskiego, w czem my przyszłość narodu upatrujemy.

Ze względu tedy na położenie nas Polaków, ze względu na nasze gazety, towarzystwa, zebrania i na rozwój spraw ludowych, mianowicie społecznych na Ślązku, nie pochwalamy nowych paragrafów, ani rządu, ani komisyi sejmowej, ponieważ uznajemy, że one nas skneblują jeszcze więcej i uszczuplą nam swobody i wolności, jakiej nam potrzeba do obrony naszych najdroższych skarbów duchowych i do podniesienia ludu pod względem oświaty i samowiedzy obywatelskiej.

Jeżeli na istotnych przestępców i zbrodniarzy potrzeba ostrych praw, niech będą, lecz powinny tak być ułożone, ażeby porządni obywatele nie zostali przez nie poszkodowani."

—

„Gazeta Toruńska" donosi w numerze 98:

„Czytelnicy sobie przypomną, iż poseł nasz p. Czarliński przy obradach nad etatem kultu między innemi przytoczył, chcąc udowodnić, iż inspektorowie szkolni mało uwzględniają katolicyzm w szkołach, że powiatowy inspektor Storz z Mogilna zabronił pozdrowienia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus." Minister dr. Bosse wonczas wyraził wątpliwość, co do prawdziwości przytoczonego zajścia, przyrzekł atoli zarządzić poszukiwania. Z biegu śledztwa prowadzonego przez radzcę rejencyjnego Scheuermanna z Bydgoszczy dowiadujemy się, że poseł nasz p. Leon Czarliński dobre miał informacye. Oto 1) Prawdą jest, że pan Storz zakazał panu Ostermannowi z Szczepanowa katolickiego pozdrowienia, 2) prawdą jest także, iż pan Storz próbował zaprzeczyć twierdzeniu lecz p. O. oświadczył inspektorowi szkolnemu na konferencyi nauczycieli w Pakości, iż zakaz taki wyszedł z ust pana inspektora i wystosowany był do niego.

Powyższy fakt przekona może pana ministra Bossego, iż słowo „unwahrscheinlich" (nieprawdopodobne), którego był użył, dając odpowiedź p. Czarlińskiemu, powinien wykreślić z pamięci wtenczas, gdy usłyszy wiadomości o naszych stosunkach szkólnych i kościelnych. Dzieją się u nas rzeczy nieprawdopodobne, ale jednak prawdziwe."

—

„Kuryer Poznański" otrzymał z Berlina wiadomość, że Koło polskie potępiło jednogłośnie znany list otwarty dr. Krzymińskiego w sprawie ustawy przewrotowej. We właściwym stylu „Kuryera" przyczepił korespondent do wiadomości tej ubliżające dla posła dr. Krzymińskiego uwagi, mówiąc o braku inteligencyi politycznej, kompromitacyi itd. Z powodu Kuryerowych inwektyw zamieścił „Orędownik" następujące komentarze w Nr. 99:

„Możnaby przyjąć 100 na 1, że gdyby poseł dr. Krzymiński był wystąpił z swym Listem otwartym przed znanym artykułem „Kur.", napisanym na dzień urodzin cesarskich, to „Kuryer" byłby na niego klątwę rzucił. Dziś już nie posiada tej władzy, żeby klątwy rzucać. Czytelnikom naszym znany jest List otwarty szanownego posła Kujawskiego. Postąpił sobie tak, jak to mu obowiązek względem wyborców nakazywał. Tego list...

WOLSKI.

O! pójdź. Poprowadzę cię do wielkiej świątyni, gdzie blaski błękitów i słońca złote róż kielichy błogosławić będą miłości naszej. Rzuć ich, zapomnij...

MARTA.

Nęcisz... porywasz... a ze mną razem łzy ojca i skargę. Pójdę za tobą, a oni przeklną... nie... nie!

WOLSKI.

Słuchaj mnie Marto! ty w atmosferze salonowej cieplarni, byłaś jak róża dzika i jam tę różę ukochał całą duszą moją. Zostań mi taką i nie zmieniaj się w ten kwiat oranżeryjny, który ludzie zowią dobrze wychowaną panną,... bez woli... bez serca. Ty jesteś krwią moją, bogiem i istnieniem. Słońce kwiatom, a ty mnie do życia potrzebna. Zwiędnę bez ciebie, bo ty wszystko moje.

MARTA (*tuli się do niego*).

Zygmuncie... jedyny...

WOLSKI.

Pójdziemy razem... i nie odtrącisz i kochać będziesz.

(*słychać grzmot silny za sceną*)

MARTA (*odsuwa się z przestrachem*).

Słyszysz? niebo protestuje.

WOLSKI.

Przy mnie nie lękaj się gromów. Zgaszę błyskawice i pioruny zduszę, tylko ty bądź ze mną.

MARTA (*cichym głosem*).

Tak... tak... niech gromy biją. Mów już, rozkazuj.

WOLSKI.

W domu niewoli śmierć czyha i zniszczenie. Zerwij te pęta, rzuć dom i ojca.

MARTA.

Iść! rzucić ojca? jak to strasznie brzmi.

WOLSKI.

O, stań się orłem mój gołębiu biały i kochaj tak jak orły kochają.

MARTA (*bezdźwięcznie*)

Jak orły... tak! (*słychać grzmot przeciągły i głośny. Marta rzuca się w objęcia Wolskiego i mówi głosem silniejszym*). Wobec Boga i ludzi jam twoją i niechaj niebo nas sądzi.

WOLSKI.

Tyś moją... moją.

(*za sceną słychać głosy zmieszane*).

MARTA.

Co to jest? Oni wracają (*wydziera się, lecz Wolski ją wstrzymuje*).

WOLSKI.

Mówiłaś Marto: „Wobec Boga i ludzi ja z tobą!" Odwagi! Nierozłączeni będziemy i silni, bo drzeć nie wolno w tym boju o życie.

MARTA.

Tak... tak... przed całym światem... niechaj się stanie. (*Opiera głowę na piersiach Wolskiego. Wchodzi Ostrzyński, a za nim całe towarzystwo.*)

Scena XII.

(*Ciż, Warecki, Karol, Ostrzyński, Melanja, Ruszczewski, Leski, Modliński i goście.*)

OSTRZYŃSKI.

Brrr! co za wichura!

(*Wszyscy spostrzegają Wolskiego i Martę i stają zdumieni.*)

WARECKI (*występując kilka kroków naprzód*).

Co to?... Marto!

MARTA (*podnosi głowę i trzymając Wolskiego za rękę, mówi*). To mój narzeczony!

WARECKI.

Co? (*milczy chwilę z widocznemi oznakami ambarasu, potem zwraca się do gości z wymuszonym uśmiechem*) Córka moja zdradza tajemnicę... której odkrycie zachowałem dla państwa na koniec wieczoru... (*wskazuje na Wolskiego*). To narzeczony mej córki. (*Wśród gości ukazują się objawy zdziwienia.*)

(Kurtyna spada)

Akt II.

(Scena przedstawia obszerny pokój (fumoir) w pałacu Wareckich. Na ścianach wiszą sprzęty myśliwskie i kolekcya oprawnych rogów jelenich. W oszklonych szafach widać zbiory książek, na stołach kilka dzienników i przybory do palenia. Przez wysokie gotyckie okna po lewej stronie zaglądają korony drzew. Meble dębowe, artystycznie wykonane. Drzwi od frontu i po prawej stronie).

otwartego partya dworska nie może strawić i parlamentarne Koło polskie ma takich posłów, którzy do jedynego „Kuryera“, którego cała prasa polska potępiła, nadsyłają takie wiadomości. I to mają być posłowie, którzy winni mieć czucie z narodem!

Sprawozdawca poselski do „Kur.“ każe się znów p. Krzymińskiemu uczyć, bo dziś na polityce się jeszcze nie zna, i dowodzi, że skompromitował siebie i swych przyjaciół poznańskich, którzy mu dali wotum zaufania na wiecu. Posłowie parlamentarni uczą się już 4 lata, a nauczyli się przez te 4 lata tyle, że chyba nikt więcej nie mógł się skompromitować, jak Toruń, ich polityka dworska i w końcu pryncypalny ich organ „Kuryer Pozn.“ Nikt chyba dopatrzyć się nie może w partyi dworskiej rozumu politycznego. „Kuryer“, potępiony przez całą prasę polską, tego nie rozumie, bo on w ogóle ciężko pojmuje i umiał tylko klątwami pracować i grozić bojkotem. To było jego wytyczną. Posłowie parlamentarni mimo to do tego wyklinającego organu się zgłaszają. Społeczeństwo polskie rumienić się musi, że ma takich posłów i że w społeczeństwie istnieje taki organ jak „Kuryer“.

—

„Goniec Wielkopolski“ omawia również w Nr. 99. berlińską korespondencyą „Kuryera“ w sprawie dr. Krzymińskiego i takie wypowiada opinje:

„Co to ma znaczyć? List jest z Berlina — pochodzi od kogoś dobrze poinformowanego o ostatniem posiedzeniu Koła, i robi zupełnie wrażenie, jak gdyby pisał go jeden z posłów. Każe się tego zwłaszcza domyślać kategoryczne oświadczenie o „jednomyślnem“ potępieniu, a następnie i końcowa wzmianka. (O posiedzeniach Koła. Przyp. Red.)

Niemożliwem wydaje nam się jednakże, aby Koło dać miało któremu z posłów polecenie publicznego omawiania wystąpienia dra K.. i to jeszcze w podobny, ze względu na powagę Koła bardzo nietaktowny i nieprzyzwoity sposób.

Nie możemy mieć nic przeciwko temu, że przyjaciel „Kuryera“ donosi mu o czynnościach Koła,

pomijamy bezwzględny ton elaboratu dla wystąpienie p. dra K., którego list do wyborców, sięga, zdaniem naszem, treścią swoją za daleko, lecz ma zupełnie racyą bytu,

ale w obec podzielonego w społeczeństwie zdania co do słuszności lub niesłuszności postępowania p. dra Krzymińskiego, nie wolno jest „Kuryerowi“ pozostawiać ogółu w niepewności co do tego, za co ma być uważanym ów mądry list z Berlina. Ze względu na żądania, jakie społeczestwo przedłożyło niedawno Kołu, taka bez firmy puszczona w świat notatka wzbudzić musi nowy zamęt i niepokój u tych zwłaszcza, którzy pochwalają krok p. dra K. Kto chce podobną sprawę traktować, musi przedewszystkiem wystąpić jawnie — niech więc „Kuryer“ napisze wyraźnie, że dostał z Berlina takie, wiadomości, — niech doda, że uwagi pochodzą od redakcyi, a nie podaje ich we formie, która jest jakoby podszyciem się pod powagę Koła. Kto ma odpowiadać za prawdziwość i przyzwoitość odnośnego komunikatu, Koło polskie czy „Kuryer“? To należało wyraźnie powiedzieć! „Kuryer“ tego nie zrobił i wyjdzie to na szkodę powagi Koła — jesteśmy tego pewni“.

—

Stanowisku Koła polskiego w obec ustawy przewrotowej poświęca „Orędownik“ w Nr. 95 następujące uwagi:

Organa partyi dworskiej, podtrzymujące na gwałt mocno naruszoną powagę posłów, — nie dla dobra społeczeństwa w pierwszej linii, ale dla fanfaronady powagi poselskiej, stawiają tę kwestyą na odwrot. Odsądzają one społeczeństwo od zdolności, warunków i możności decydowania o takich sprawach, a zdolność warunki, możność i prawo przypisują wyłącznie — posłom. Same tworzą na tym punkcie zasadniczy rozdział między posłami a wyborcami, potem pojąć nie mogą, dla czego trzeszczy i rwie się solidarność. Prawią nam — jak chłopcom szkolnym — bardzo „mądre“ rzeczy:

1, najprzód, że tak ważne kwestye nie dadzą się w kraju przejrzeć i zbadać, tylko trzeba na to siedzieć w Berlinie;

2, że przy tak ważnych sprawach w ciałach prawodawczych zachodzą stosunki i kombinacye nieprzewidziane, sięgające bardzo daleko, a jednak z dnia na dzień zmieniające się, że się z tem liczyć trzeba, a jak się liczyć, o tem mogą sądzić tylko posłowie, którzy siedzą w Berlinie przy ognisku, w parlamencie, w hucie, gdzie się topią i leją ustawy:

3, że w takich warunkach posłowie polscy w żaden sposób nie mogą się naprzód wiązać żadnem wotum względem swych wyborców i publiczności, by snać — sprawie „nie zaszkodzić“.

Takich „mądrych“ rzeczy uczą nas prawie codzień „miarodajny“ „Dziennik“ i „Kuryer“.

Zaprzeczyć nie można, że w Berlinie, w ciałach prawodawczych posłowie polscy mogą nabrać szerszego i głębszego poglądu na poszczególne projekty i na ich związek z całą fabrykacyą prawodawczą, jako też z przewodnią polityką rządu. Są to bardzo cenne warunki do powzięcia decyzyi względem poszczególnych projektów ustawowych. Ale te cenne warunki nie mają takiego znaczenia, żeby tylko w Berlinie można wyrobić sobie decyzyą o projektach rządu, a w kraju nie. Te cenne warunki mogą wpływać na taktykę posłów naszych w Berlinie, ale nie na decyzyą samą, jakie zająć zasadnicze stanowisko, bo o tem w pierwszym i ostatnim rzędzie, zawsze i wszędzie, decydować może tylko faktyczny stan narodowych interesów naszego społeczeństwa. A ten stan — w obec poszczególnych projektów rządowych — jest często tak prosty i przejrzysty, że znaczenie owych cennych warunków, w jakich się znajdują posłowie nasi przy wyrabianiu sobie sądu i decyzyi, spada do zera. Takie sprawy, jak wniosek hr. Kanitza, jak projekt przewrotowy, jak projekt wojskowy, są tak przejrzyste, że społeczeństwo u siebie w domu może zadecydować o nich bez koniecznej dorady tych, co — „w Berlinie siedzą“, a taka opinia społeczeństwa jest dla posłów naszych także bardzo cennym warunkiem i daje im rzeczywisty punkt oparcia, podstawę moralną.

......Projekt daje rządowi ostrzejsze środki wykonywania swej władzy i te środki odbiją się na nas tak samo, jak się odbiły ustawy przeciw Kościołowi podczas walki kulturnej. Prawdopodobieństwo tego jest wielkie i dla tego społeczeństwo nasze musi być przeciw projektowi.

To powinnoby starczyć posłom naszym

—

Przegląd prasy słowiańskiej.

O powstaniu stronnictwa młodomorawskiego i agitacyi kierowanej w jego duchu z Pragi piszą do radykalnej „Slovacz“!

„Stronnictwo młodomorawskie pracuje obecnie w kierunku uświadomienia ludu morawskiego, pozostającego daleko poza ludem czeskim. Pracę rozpoczęto, zakładając towarzystwa turystów, których celem ciągła styczność z ludem i zaznajomienie się z jego potrzebami, dalej zorganizowano komitety wakacyjne, komitety dla zakładania szkół handlowych morawskich i towarzystwo etnograficzne, — wreszcie postanowiono opiekować się „maticą sokolską“, działać na rzecz agitacyi założenia na Morawie uniwersytetu czeskiego i równouprawnienia języka czeskiego na wyższej szkole technicznej w Bernie.

Obecny ruch narodowościowy i stanowisko jakie Morawianie zajmują, nie stoją w stosunku odpowiednim do siły liczebnej i kulturnej Morawian. Czesi, jak to słusznie profesor Masaryk wykazał w książce „Czeska otazka“ (kwestya), zapominają o Morawianach konsekwentnie.

W ostatnich czasach podjęto na seryo myśl założenia w Bernie narodowego teatru. Bez tej instytucyi nie może narodowość nasza nigdy zdobyć sobie znaczenia. Dalej trzeba nam w Bernie powołać do życia towarzystwo naukowe i artystyczne w rodzaju pragskiej „Umielecka Beseda“.

Zresztą Młodomorawianię dążą na Morawie wszelkiemi siłami do tego, ażeby nastąpiło zjednoczenie wszystkich stronnictw politycznych. Kwestya zjednoczenia stronnictw jest kwestyą osób. Trzeba usunąć kilka osobistości stronniczością swoją skompromitowanych, a cel osiągnięty zostanie.“

* * *

„Slovenski Svet“, organ tryesteńskich Słowińców pisze o agitacyi pangermańskiej na południu Słowiańszczyzny:

„Wielka Germania rozpoczyna u nas agitacyą na wielką skalę. W każdem mieście większem ma ona agencye. Akcyja ta rozszerza się na całą Austryą, Bałkan i południową Rosyę. Tak w Serbii jak Bułgaryi zyskała ona na sile, odkąd Koburg i Milan stali się jej narzędziami. Kraje te dziś już przyprawiają się dla niemieckiego żołądka według recepty wielko-niemieckiej kuchni politycznej.

Akcya ta staje się najruchliwszą w ziemiach słowiańskich, stojących na przedmurzu Chorwacyi i Serbii.

Obojętność narodowa, usuwanie kwestyi narodowościowej na plan drugi jest najlepszym sojusznikiem pangermanizmu. To też w pierwszym rzędzie pracować nam trzeba nad rozbudzeniem samowiedzy narodowej, w obec tego zadania schodzą inne na plan drugi.“

* * *

„Srpski Glas“, wychodzący w Zadorze, pisze o potrzebie pewnego dozoru nad pismami serbskiemi. Dozór taki byłby koniecznym zwłaszcza w Białogrodzie, gdzieby rząd serbski mógł zamiar ten z łatwością wprowadzić w czyn.

Scena I.

Turkiewicz. Marynka.

TURKIEWICZ. (*stawia na stole tacę, na której znajdują się trzy filiżanki czarnej kawy, cukierniczka, karafka koniaku i kilka kieliszków*).

A ty czego się gapisz? Poszłabyś lepiej do kuchni i powiedziała, żeby dla pana Ruszczewskiego był gotowy obiad.

MARYNKA.

Wej! Co też to Turkiewicz za tym starym familjantem wciąż się ogląda. Od rana do wieczora tylko o nim pamięta.

TURKIEWICZ.

Pójdziesz ty sikoro! Wy to tak służbę jak fartuchy zmieniacie, ale ja, mój Boże, 20 lat u Ruszczewskich służyłem. Pana do ślubu, a wielmożną do grobu zawiozłem. (*po chwili*) Potem z torbami wyśliśmy ze wsi i tułali się po świecie, aż nareszcie tu przyszło złożyć stare kości.

MARYNKA.

A bo wam tu nie dobrze?

TURKIEWICZ.

Co ty tam wiesz? Mnie to wszystko jedno, ale panu na popychadło zeszło. (*po chwili*) No! czego stoisz? Ruszaj do kuchni i powiedz, co ci mówiłem, bo wielmożny dla nich na bryczce stare kości strzęsie, a oni mu za to zimny obiad dadzą.

MARYNKA.

Turkiewicz to zawdy musi marudzić i tyla. (*wychodzi drzwiami frontowemi*).

TURKIEWICZ. (*zapala świecę na stole*).

Co mi za panowie! Żeby tylko na żebry nie zeszli.

(*Wychodzi drzwiami frontowemi. Z prawej strony wchodzą Ostrzyński, Warecki i Karol*).

Scena II.

Ostrzyński, Warecki, Karol.

OSTRZYŃSKI.

Kucharz pana hrabiego to mistrz nad mistrzami. Ani u Sachera w Wiedniu, ani u Brebanta w Paryżu takiego majonezu nie jadłem.

WARECKI.

Nim powóz zajedzie wypalimy cygara. Mam nowe Importy: "Prince Wales“. (*Bierze ze stołu pudełko i częstuje Ostrzyńskiego oraz Karola cygarami*). Aromat znakomity.

KAROL.

Ale cena wygórowana.

(*Ostrzyński zapala cygaro o świecę*).

WARECKI.

Dobre cygaro jest nieopłacone.

OSTZYŃSKI. (*puszczając kłąb dymu*).

Zapach wcale niezły, ...bardzo dobry.

WARECKI (*wskazując na filiżanki z kawą*)

Proszę, panie redaktorze. Przy kawie porozumiemy się ostatecznie w sprawie agitacyi wyborczej. (*Wszyscy biorą filiżanki i siadają*).

KAROL.

Czy ten Wisłowski może stać się istotnie niebezpiecznym?

OSTRZYŃSKI. (*wzrusza ramionami*).

Ha! za nami stoi tradycya i przeważna część obywatelstwa, ale jeżeli demokracya weźmie się solidarnie za ręce, to za wybór pana Karola ręczyć nie mogę. Tu przyjść musi do ściślejszych wyborów między nami, a Wisłowskim.

KAROL.

A Niemcy?

OSTRZYŃSKI.

Ci się nie liczą w okręgu naszym, bo garść ich rozstrzelona na cztery wiatry. Tu Polak z Polakiem wezmą się za bary, a taka walka to hazard arcyniebezpieczny. (*po chwili*). Hm! Gdyby tak Wolski, ...jako narzeczony panny Marty, chciał zmięknąć... ba! to główny ich filar i kit solidarności demokratycznej.

WARECKI. (*zdradza ambaras*)

Tak... oczywiście... ale to jeszcze w dalekiem polu. Uległem chwilowemu kaprysowi mej córki, lecz nie wiem sam jeszcze, jak się to wszystko zakończy.

OSTRZYŃSKI.

Święte słowa pana hrabiego, bo ośmielę się zauważyć, że mariaż ten zadziwił nas i przestraszył. Wolski byłby intruzem w rodzinie Wareckich, chwilowo jednak radzę go nie drażnić i sprawę zostawić w zawieszeniu aż do wyborów.

KAROL.

Jeżeli Wolski wejdzie do rodziny naszej, to oczywiście zmienić musi barwę.

„Już niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na to, ażeby kres położyć publikacyom i artykułom uwłaszczającym czci serbskiego narodu, czem są bezprzecznie napaści na Czarnogórę, owe gniazdo sokole serbskie, ku któremu z dumą każdy Serb spogląda.

Chcielibyśmy, żeby Białogród stał się dla Serbów centrum literackiego i kulturnego życia. W Białogrodzie mamy Akademią, towarzystwo Kolarczewa i Czupiszewa, Serbski Księgarski Związek i wiele innych instytucyi. Białogród jest obecnie głównym punktem zbornym Serbów, Czarnogóra na tem polu nigdy z nim konkurować nie będzie, bo jej sława jest innego rodzaju; pozostanie ona na zawsze w dziejach serbskich czemś w rodzaju epopei, jej mieszkańcy bohaterami serbskimi, wykwitem ducha rycerskiego Serbów. Tu jej nigdy pierwszeństwa Białogród nie odejmie.

„Serbowie białogórscy powinni w własnym interesie dbać o to, aby nie krzywdzono niczem Czarnogórców; wszelkie zakusy tego rodzaju, powinny u Serbów znaleźć potępienie.

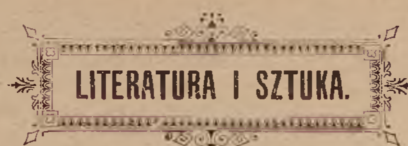
„Tem więcej wypada Serbom dbać o stosunek dawniejszy, że Czarnogóra nie miesza się do spraw wewnętrznych Serbii, nie uważa żadnego stronnictwa za stronnictwo bliższe sobie. Kiedy w roku 1893 odbył się z powodu rocznicy urodzin Gundulewicza i wystawienia mu pomnika zjazd Serbów w Cetynii, książę Nikita zawezwał wszystkich Serbów goszczących w Cetynii do dworu, bez względu na stronnictwo, do którego należeli.

Były to objawy miłości iście braterskiej Czarnogóry ku Serbiji, z których cała Serbia się odezwała. Wiemy też o tem, że serdecznem było powitanie obu władzców dwóch państw serbskich, kiedy się na pogrzebie cara Aleksandra III król Aleksander z księciem Nikitą spotkali.

Za te dowody sympatyi odwdzięczyli się Serbowie białogrodzcy Czarnogórze tem, że wśród nich znaleźli się tacy, którzy przyczynili się do zredagowania i wydania pamfletu: „Crna Gora na kraju (końcu) XIX wijek“.

„Prawdziwą radością było dla nas, gdyśmy się dowiedzieli, że przeważna część prasy białogrodzkiej robotę tę potępiła. Niedość atoli na potępieniu, obowiązkiem byłoby tutaj zapobiedz, aby coś podobnego znowu powtórzyć się miało.

D. K.



MIRON.

Warszawski „Przegląd Tygodniowy“ poświęca następujące wspomnienie zgasłemu Mironowi:

„Odlatują po jednemu żórawie, chociaż nowa wiosna się zaczęła... Nowa, ale nie ta, gdy dusze nasze młodzieńcze wzlatały jak ptaszyny nad niwami społecznemi... gdyśmy wewnątrz byli wiośniani żądzą odrodzenia myśli, wiedzy, poezyi i sztuki naszej. Cała gromadka pokrewnych, jak klucz żórawi ciągnący z nieznanej krainy, przesunęła się po nieboskłonie, zaszumiały skrzydła wichrem, rozległ się krzyk, który napróżno stłumić chciano bez echa głębokiem milczeniem, i poszliśmy w bój za nowe prawdy, nowe idee, nowe poglądy. Był to piękny widok. nie brakło w tej małej armii ani ciężkiego korpusu uczonych, ani talentów twórczych, które się miały potem stać czołem literatury, ani ciętych krytyków, ani humorystów wyciskających łzy śmiechem, ani bardów promiennych poezyą.

Dziś z falangi tej po kolei odlatują uczestnicy, odlatują samotni ze stanowisk, gdzie ich fala życia zaniosła lub rozbiła i tylko przy każdej świeżej mogile, wspomnienie cofa się do wspólnego ogniska, gdzieśmy kołem zasiadali na literackim wiecu.

Miron (Aleksander Michaux) pierwszy z tej falangi opuścił rodzinne gniazdo, nasz „Przegląd Tygodniowy“, pierwszy zerwał się do lotu na szerokim świecie i pierwszy padł strzaskany z podciętemi skrzydłami. Nie na długo przed ukazaniem się „Przeglądu“ (1866) Miron wydrukował kilka swych poezyi, ale już w pierwszym lutowym numerze naszego pisma rozpoczął szereg „Listów z ulicy X.“ i odtąd ciągnie się działalność jego jako publicysty, trwa natężony okres twórczości poetycznej. Niestety, trwało to za krótko, aby ognisty krzak natchnienia oddał wszystkie swe kwiaty matce literaturze. Faktem atoli jest, iż to tylko, co stworzył w okresie „Przeglądowym“, to tylko, składa się na jego spuściznę, to tylko opromieniło jego młodą sylwetkę nimbem popularności i uznania.

Z chwilą, gdy poeta Miron dał się uwieść i wstąpił do „Kuryera Warszaw[illegible]“ którego redakcyę objął wtedy świeżo Wacław Szymanowski, rozpoczął się łamać jego talent, coraz rzadsze rzucał blaski natchnienia a rozbity dogorywał, jak tląca pochodnia, która się sama trawi i wszystko w koło siebie zatruwa.

Trzeba raz zniszczyć fałszywą legendę o dobrym wpływie Wacława Szymanowskiego na młodzież piszącą! Ówczesny redaktor Kuryerka mógł być człowiekiem dobrotliwym, dobrodusznym, mógł mieć przymioty osobiste cenne dla jego otoczenia i przyjaciół. Niechże jednak ci ostatni, oddając przyjacielowi co przyjacielskie, nie skrywają prawdy literackiej, niech ci, co się zmarnowali w redakcyi Kuryera, nie starają się wspomnieniem wesołego baraszkowania zasłonić rzeczywistości! Nikt nie był gorszym przewodnikiem poczynających talentów nad Szymanowskiego, nikt ich więcej nie zmarnował nad niego! Płytki jego umysł ubrany w pozory naciąganego gwałtem dowcipu, jednostronne z ograniczonością sąsiadujące wykształcenie, fanatyzm, który zawsze cechuje miernotę i nieskończona pycha, pragnąca błyszczenia i przewodzenia, nie nadawały się do roli sternika na ożywczym nurcie literackim. Episierstwo, ciasnota poglądów, a co za tem idzie nietolerancya, wulgarne gusta — stanęły u wrót „kuryerka“ zdolności zaś redaktora, dostateczne dla pisemka brukowego z przeznaczeniem lokalno miejskiem, nie mogły sprostać żadnym podniośleijszym aspiracyom literackim. Pod takim sterem mogli się tylko wykształcić Czapelscy, Olszewscy, Skrzyneccy i cała falanga najmarniejszych reporterów kuryerkowych, ale tacy Mironi musieli się złamać bezpowrotnie. W kuźni „Kuryera“ złoto talentu rozbijało się na najdrobniejsze liczmany dla użytku wymiennych potrzeb brukowej gawiedzi. W kuchni tej oficyny, gdzie panowała Ponsardowska retoryka, a każdą potrawę podlewano sosem episierstwa i blagi, nie mogło przyjść do skutku żadne wykwintne danie. Niech stronna płytkość biografów nie oskarża Mirona o „nerwowość“, o „nieodpowiedniość stosunków rodzinnych“, o „zawody życiowe“, o „namiętności burzliwe“, bo nie to na poetę wpłynęło tak źle, ale otoczenie literackie, płytkie i wulgarne, które — zamiast go podnosić, krzepić, bronić — zniżało jego lot i pchało w niezdrową kałużę miejskich drobiazgów, plotek i zabiegów. Niechże ta tradycya o „błogosławionym“ wpływie redaktorów kuryerkowych raz weźmie koniec i niechże nasi „publicyści“ bieżącego dnia raz się dowiedzą, że talent Mirona nie jest rodem z „Kuryera“, ale w „Kuryerze“ grób swój znalazł! Publicystom tym musimy jeszcze powiedzieć wprost: nie douczyliście się! Umiera poeta, autor niepoślednie miary i wy w nekrologach nie umiecie nic więcej rzeknąć nad to, co wy-

---

OSTRZYŃSKI.

Pięknie... bardzo pięknie, ale ostrożnie panowie. Ten człowiek to rogata dusza.

WARECKI.

Z czerwoną czapeczką nikt nie wstępuje w progi Wareckich, ale choć Wolski ustąpi, to batalja z Wisłowskim nie wygrana jeszcze. Trzeba wszystkie sprężyny poruszyć, aby przynajmniej część mieszczaństwa w okręgu naszym pozyskać.

OSTRZYŃSKI.

Ja, panie hrabio nie zasypiam gruszek w popiele. Rąbię Wisłowskiego w każdym numerze. Wykazuję, że jego spółka konsumcyjna to cios śmiertelny dla polskiego handlu, a bazar ludowy czysta spekulacya. Zresztą (*przycisza głos*) ten skandal z aktoreczką i małżeńską sceną w hotelu opisałem tak, że ślepy namaca Wisłosia-galanta. Jednem słowem: rąbię, smaruję, żgam, siekam, mówię panom: marmolada!

WARECKI.

To nie dosyć, panie redaktorze. Pismo nasze wśród mieszczaństwa mało jest czytane.

OSTZYŃSKI.

Ha? możeby tak w miasteczku jednem i drugiem bibkę wyprawić. Co? Takie obiadki to nietylko dobrze działają na żołądek, ale i na serce.

KAROL.

Te popularne uczty to męczarnia.

OSTRZYŃSKI.

Trudno! Bez popularności będzie klapa. Przedewszystkiem powinien pan Karol wygłosić w towarzystwach przemysłowych i rzemieślniczych kilka odczytów, a ja napiszę sprawozdanie, — rozumiecie panowie? Potem złożyć należy na oświatę ludową sumkę znaczniejszą, a ja to uwypuklę... oświetlę. Wreszcie, gdy wybory się zbliżą, zwołam zebranie, urządzę bibkę, zaproszę wybitniejszych mieszczan i bądź zdrów panie Wisłowski. (*po chwili*). Ale na to wszystko trzeba pieniędzy, dużo pieniędzy.

WARECKI.

Chwilowo rzeczywiście jestem w ambarasie. Drenowanie Turowa kosztuje niemało, a mój syn także miał nadzwyczajne wydatki.

OSTRZYŃSKI.

Szkoda, wielka szkoda, bo Wolski odebrał mi dużo abonentów, a tu trzeba opłacać korespondentów, jeździć po wystawach, jarmarkach, zebraniach. — wszystko w agitacyjnych celach, wszystko dla hrabiego Karola.

WARECKI.

Jeżeli koniecznie potrzebujesz, kochany redaktorze, to w przyszłym tygodniu pomyślę o jakiej subwencyi. Ale pilnuj mi sprawy, pamiętaj.

OSTRZYŃSKI.

Już ja swoje zrobię (*pokazuje na czoło*), bo tu główka nie makówka, panowie. (*spogląda na zegarek*) No! A teraz czas na dworzec, konie już stoją. Dziś wieczorem mam jeszcze dwa posiedzenia (*podaje rękę Wareckiemu i Karolowi*).

KAROL.

W tych dniach zresztą będę u pana. Sprzedaję Karłowice i w tej sprawie pragnę z panem pomówić.

OSTZYŃSKI.

Zawsze do usług pana hrabiego. Ale ostrożnie, ostrożnie! (*wychodzi*).

Scena III.

Warecki. Karol.

KAROL.

Czy on domyśla się czego?

WARECKI.

To obojętne. Takim Ostrzyńskim stumarkówką zalepia się usta.

KAROL.

A Ruszczewski zgodzi się?

WARECKI.

To bierna natura. Tak tańczyć będzie jak mu zagramy.

KAROL.

Oby tylko z taktu nie wypadł. Za maską uległości tkwi w tym szlachcicu rogata dusza.

WARECKI.

Chlebem Wareckich żyje lat 15. Wdzięczność zmiękczy jego rogatość. Zresztą nie ma innego wyjścia z tej matni, w którą wtrąciło nas twoje waryactwo.

czytacie w pierwszej zatrutej stronniczością wzmiance w Kuryerku?! Jak jeden mąż wszystkie pisma nasze powtórzyły za „Warszawskim“: „Miron był współpracownikiem „Kuryera“ — i pominęły cały okres „Przyglądowy“, jedyną twórczą chwilę w życiu poety, obejmującą wszystko, co najlepszego stworzył. Osiem „Listów z ulicy X“, poruszających w formie żywej, stylem wykwintnym, różne zagadnienia moralne i społeczne (1866—7), ustąpiło w roku następnym seryi „Profilów“, obejmujących energiczne zarysy: Józefa Keniga, Aloizego Żółkowskiego, Wacława Szymanowskiego, Jana Chęcińskiego, Franciszka Kostrzewskiego, Henryka Pillatego. Dalej idą „Fragment“ (1866), „Ze studyów karnawałowych“ (1867), wreszcie najpiękniejsze i najważniejsze: „Bez Boga“, „Ostatni sen Tassa“, „Fragmenty“ (1868) i wszystkie w rocznikach naszego pisma rozrzucone „Sonety“. W tej także epoce Miron stworzył największy swój utwór „Don Juana“, który sam jeden może dać wyobrażenie o kierunku i duchu poety. Czytelnicy i dawni abonenci „Przeglądu“ krótki rozbiór tego dzieła znajdą w 35 numerze naszego pisma z 1869 roku, wraz z treściwą oceną talentu Mirona. Do tego zarysu niewielebyśmy dziś dodać mogli, dalsza bowiem praca poety rychło się urwała. To, co w tym okresie było cennego, weszło w skład dwóch zbiorów: „Pieśni“ (1867) i „Fantazye“ (1870) i objęte jest, nowem w piętnaście lat powtórzonem wydaniem „Poezyi“ (1885). Inteligentny czytelnik prześledzić tam może całą drogę narodzin i upadku poetycznego ducha, wszystkie fazy i wątpliwości szamocącego się talentu. Ale mrok padający na ten szlachetny umysł postępował nieubłaganie, naprożno poeta zrywał się do lotu i jak ptak, któremu strzaskano skrzydła, spadał na ziemskie padoły. Czasami, przynosił nam Miron na wielkim arkuszu krzywo nakreślony czworo- lub ośmiowiersz, którego niepodobna było drukować. Aż w końcu zapomniał o sobie, chodził po świecie z otwartemi oczyma, nie widząc, nie myśląc, nie czując. Śmierć wybawiła go od tej fizycznej męki, bo samowiedza dawno zagasła... A jednak on przecież napisał swej oblubienicy poezyi:

Kochanko cherubów, w laur strojna ponętny
I z srebrną swą arfą tak lśniąca słonecznie,
Kto ciebie ukochał, twym będzie już wiecznie
I w duszy swej, z piekłem tęsknoty namiętnej
Do pieśni, gdy skrzydła rozwiniesz łabędzie,
Choć z objęć kochanki, rwać w górę się będzie.
Kto ciebie ukochał, ty wieków nadziejo!
Ten pieśni nie sprzeda — nie schyli ten czoła,
Lecz z siłą tytana i z sercem anioła,
Za tobą iść będzie — czy gromy szaleją,
Czy cisza drży błoga — o wszędzie, o wiecznie
Kto ciebie ukochał tak lśniącą słonecznie.

Tak, i nie sprzeniewierzył się jej nigdy, upadł, ale pozostał wierny, a gdy wybiła godzina i żóraw w poranek wiosenny odleciał, współtowarzysze, pożegnajmy go chwilą rozczulenia!... *Nul.*

Nowe kryteryum literackie
i kilka ogólnych uwag nie na czasie *)

Przed paru miesiącami ukazała się w Niemczech książka krytyczna p. t. „Walka o osobistość“ (Kampf um die Persönlichkeit). Autor książki zdaje się być młodym człowiekiem, a dzieła jego nie można nazwać bezwarunkowo dojrzałem. Kompozycya pozostawia wiele do życzenia, a pierwotna metoda zszeregowania przykładów, przeplatanych poglądami własnymi, czyni rzecz całą chaotyczną i niedającą zupełnie skończonego obrazu. Jest w niej jednak coś, co pozwala zapomnieć o brakach i wynagradza je w zupełności. Jest w niem w odwaga w obiorze punktu krytycznego widzenia.

Odstępując od dogmatu tak zwanej krytyki naukowej, stawiającej autora w środku tworzenia, aby zeń dojść do zrozumienia dzieł jego, wychodzi autor walki o osobistość od dzieła samego, i z tego stanowiska sądzi o niem i o autorze. Kryteryum literackiem Küchenmeistra jest odporność autora na wpływy postronne, a stopień jej miarą jego wartości. Postawiwszy to założenie na samym początku rozpatruje po kolei wielkości niemieckie i nie niemieckie, a wysuwając na pierwszy plan walkę z wpływami, szuka oceny w przewadze indywidualności autora nad otoczeniem. Küchenmeister żąda nietylko zrozumienia dzieł, ale postanowienia czegoś pewnego o ich wartości, i odpowiada temu żądaniu przynajmniej pod względem kwestyi oryginalności danego autora w sposób pewny. Nie należy tu jednak rozumieć, że chodzi tylko o wpływy z drugiej ręki tj. literackie, lecz o cały sposób patrzenia autora na wszystkie zagadki bytowe.

Rozpatrywanie takie autorów niemieckich na przykład, wywołuje już znaczne zmiany w opinii Küchenmeistra o ich wartości literackiej. I tak niżej staje Gerhard Hauptmann niż stał dotychczas, gdyż dał się zanadto ogarnąć ruchowi społecznemu, i stał się wyrazem pragnień cudzych, podczas gdy mógł był mówić od siebie. Upada bożyszcze sceny niemieckiej Hermann Sudermann, którego powodzenie popchnęło w ramiona filisterstwa i kopiowania samego siebie. Wyrasta natomiast Otto Erich Hartleben, umiejący patrzeć na swe otoczenie z punktu wyższego i dający więcej samego siebie. Wypływa na powierzchnię mniej Franz Evers, bo daje wszystko tak, jak sam widzi, bez względu na opinię i sposób patrzenia otaczającej go większości. Küchenmeister rozszerza zastosowanie swego kryteryum nawet do nauk takich jak historya. Jako przykład historyka — subjektywisty wskazuje Bleibtreua, który braków w źródłach nie waha się zapełniać niejednokrotnie płodami własnej wyobraźni, a w kreśleniu charakterów i postaci dziejowych, kierują się intuicyą.

Można się z Küchenmeistrem nie zgadzać w szczegółach, mogą nawet pojedyncze ostateczne jego wyniki być fałszywe; wina tego nie będzie nigdy leżeć po stronie założenia, lecz zastosowania i przeprowadzenia, częstokroć powierzchownego. Kryteryum jego ma bądź co bądź tę jedną niezaprzeczenie ogromną zaletę, że w pierwszej chwili zastósowania w ocenie, wyklucza bezwarunkowo każdą odpowiedź dwuznaczną.

Jeżeli kryteryum to zastosuje się do którejkolwiek literatury, to nieodzownym wymogiem i probierzem jej wartości będzie stworzenie własnego odrębnego kierunku. To tylko może być dowodem jej żywotności i jedynym zarazem tytułem prawnym do odegrania ważniejszej roli w ogólnej harmonii literackiej twórczości. Literatury, widziane przez ten prysmat, są dopiero w stanie wykazać całą swą treść wewnętrzną, choć co prawda nie wiele ich zostanie po odrzuceniu tych, które nie odpowiedzą wymogom. Jako przykład posłużyć może najlepiej literatura polska.

„Improductivité slave“ nazywa Sienkiewicz niezdolność najwyższych stanów społeczeństwa polskiego do stworzenia czegoś, zdradzającego wyższy stopień napięcia duchowej energii. Tyle widzą w tem urzędowi tłomacze dzieł literackich, ale jest tam więcej zawarte niż oni raczą przypuszczać. Nazwa ta zawiera w odniesieniu do literatury przeświadczenie, że Polacy nie są zdolni do stworzenia niczego, coby literaturę wszechludzką choć częściowo mogło pchnąć na nowe tory. Sienkiewicz, historyk z zawodu, widział to w historyi, zaś jako obserwator przejawów życiowych spostrzegł to samo i we współczesnem polskiem piśmiennictwie. A przecież nawet Rosyanie zdobyli się w czasach ostatnich na stworzenie kierunku, ci Rosyanie, których do niedawna uważano za niemowlęta na punkcie cywilizacyi i literatury, których przywykło się nazywać barbarzyńcami. Lecz to się da wytłomaczyć. W ciągłej kilkunastowiekowej bezpośredniej styczności z narodami wyższymi pod względem oświaty i cywilizacyi, musieli Polacy stara-

*) Udzielając gościnności w łamach „Przeglądu“ rozprawie powyższej, poczuwamy się się do obowiązku zaznaczyć, że w szczegółach nie zgadzamy się na wszystkie opinje autora. (Przyp Red.)

KAROL.
Ojcze!

WARECKI.
Nie masz nic do powiedzenia na obronę swoją. Stało się głupstwo i kwita. (*Karol robi znak zniecierpliwienia*). Głupstwo! mówię. Ale zapóźno roztrząsać sumienie. Czy zrobiłeś bilans? Ile ci zostanie gotówki?

KAROL.
Jeżeli kolonizacya nie zdusi ceny, którą wczoraj ofiarowała, to po odtrąceniu wekslowych długów i zapłaceniu Leskiego ocalę około 70 tysięcy marek.

WARECKI.
Za mało, żeby żyć, za wiele, żeby umrzeć. Pilnuj konkurów, bo to źle się skończy. Ja sam resztkami gonię, a te ostatki zostać muszą dla Marty. Wstyd mi naszych manipulacyi. Ta gra fałszywa jest wstrętną. (*po chwili*). Słuchaj! A Modliński?

KAROL.
Ofiaruje znacznie mniej od kolonizacyi. Dziś zresztą ma przyjechać dla ostatecznego porozumienia, ale przekonany jestem, że więcej nie da, bo między nami mówiąc, Karłowice więcej nie warte.

WARECKI.
Niech się więc stanie. Zarzynać się nie możemy.

(*wchodzi Ruszczewski*).

Scena IV.

Ciż i Ruszczewski, w końcu lokaj.

WARECKI.
A! Michał! Sprzedałeś pszenicę?

RUSZCZEWSKI.
Sprzedałem Władeczku, a przychodzę powiedzieć, że tu lada chwila przyjedzie Modliński. Spotkałem go w mieście. Pytał się o Karolka.

KAROL.
Czy mówił co o kupnie?

RUSZCZEWSKI.
Nie mówił. Ale to uczciwy człowiek. On nikogo nie skrzywdzi.

KAROL.
Skrzywdzi nie skrzywdzi, — ale nie kupi.

RUSZCZEWSKI.
Hm! to źle, to bardzo źle. Ja liczyłem na niego jak na Zawiszę.

WARECKI.
To dusigrosz stary. Chciałby półdarmo nabyć Karłowice.

RUSZCZEWSKI,
Ja nie wiem i... przepraszam mocno,... lecz zdaje mi się, że Karolek wspominał przed kilku dniami od 70 talarach za morgę. To dobra, wcale dobra cena.

KAROL.
Ba! przy takiej cenie z torbami wyjdę.

RUSZCZEWSKI.
A czy kuzyn ma lepszego kupca?

(*chwila milczenia*).

WARECKI.
Kolonizacya.

RUSZCZEWSKI (*śmieje się*).
Żartujesz Władeczku.

KAROL.
Nic innego mi nie pozostaje.

RUSZCZEWSKI.
Co? przyszły poseł? Kpi sobie pan Karol ze starego kuzyna.

WARECKI.
To nie są żarty, mój drogi. Ta sprzedaż to gwóźdź do mojej trumny, ale cóż robić? Przecież chyba nie wątpisz, że my tę ziemię tak jak ty kochamy, a jednak... (*wzrusza ramionami*) Gdybyśmy Modlińskiemu odstąpili majątek, zostałoby się Karolowi zaledwie kilka tysięcy talarów, a z tego żyć niepodobna.

RUSZCZEWSKI.
Możeby Karolek wrócił na akademią i skończył prawo. Mógłby zasłynąć jako adwokat.

KAROL.
Panie Ruszczewski! co pan bredzi!

RUSZCZEWSKI.
Ja... ja nic nie mówię, ja tylko tak...

WARECKI.
Nie! mój Michale. Żaden Warecki nie był obrońcą złodziei. Karolek zostanie posłem, a jeżeli konkury mu się udadzą, to powetujemy sprzedaż Karłowic.

się o ile to było możliwem nie bardzo zostawać w tyle. Utrzymanie się na na jednej wyżynie było warunkiem bytu, wskazywanym po prostu przez zmysł samozachowawczy. Skutkiem tej dążności dorównania we wszystkiem idącym naprzód narodom było naśladownictwo, a życie umysłowe Polaków do rodzimych warunków mniej lub więcej zastósowaną kopią. Podczas kiedy Rosyanie mniej wystawieni na bezpośrednią styczność z umysłowo wyższym zachodem zdołali aż do chwili pierwszego rozkwitu literatury zachować swą narodową odrębność, zajmowali się Polacy już dawno przesadzaniem płodów gdzieindziej wyrosłych na grunt własny. Nic więc dziwnego, że tylowiekowe naśladownictwo wycisnęło na twórczości literackiej Polaków swe piętno, nic też dziwnego, że płody ich literackie cierpią na ogólną anemią duchową. Dla tego też miarą dla oceny pewnej epoki w literaturze polskiej jest wartość naśladowanej w danej epoce literatury obcej. W ostatnich stuleciach okazało się, że Polacy pomimo wyraźnej skłonności do naśladowania dzieł szczepów romańskich, trwalszą odnieśli korzyść z naśladownictwa literatur germańskich. Okres romantyczny wydał największych poetów polskich, bo głębią treści i szerokością ram artystycznych, dawał większą swobodę rozwoju pierwiastkowi indywidualizmu polskiego niż dać mogło bezduszne naśladowanie wzorów klasycznych. Przyłączyły się do tej świetności wprawdzie i warunki dziejowe, ale twórczość obracała się wyłącznie na drogach utartych przez pisarzy zachodu. Przyznać należy, że gdybyśmy na przykład w dzisiejszym stanie piśmiennictwa europejskiego posiadali pisarzy tej miary i o tak wybitnem poczuciu swej osobistości co Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, zdołalibyśmy może stworzyć literacki kierunek.

Dzisiejsza literatura polska tkwi jeszcze głęboko w odżywianiu tej historycznej już świetności. Po wieku romantyzmu przyszła jałowość i czczość epigonów, przeżuwających romantyczne pierwiastki uczucia. Wypadki dziejowe jak rozdarcie Polski jako organizmu politycznego na części, z których każda musiała się nagiąć do warunków społecznego bytu, uczyniły też swoje, aby życiu umysłowemu nie dać się rozwinąć swobodnie, i stworzyć na dzisiaj obraz, jaki mamy przed oczyma. Pomimo wyjątkowego położenia, pomimo zmiany warunków, pozostała literatura polska do dziś naśladowniczą, a kryteryum K ü c h e n m e i s t r a należy w stosunku do literatury polskiej doby ostatniej zmodyfikować mniej więcej w ten sposób: „Probierzem wartości literatury polskiej, jest stopień zastósowania prądów obcych, do warunków ojczystych.“

Jeżeli na to złagodzone już pytanie zechcemy odpowiedzieć szczerze, to i na nie odpowiedź nie będzie brzmiała korzystnie. W części, pozostającej pod zaborem austryackim, ginie literatura pod naporem polityki dnia i zajmującego się nią dziennikarstwa. W. Księstwo Poznańskie nie ma na nią czasu, bo wyczerpuje je walka kulturna z żywiołem niemieckim. Cóż pozostaje? Królestwo z Warszawą na czele, a tam ani myśl wolniejsza nie ma i nie może mieć ujęcia ani o swobodzie ruchu umysłowego mowy być nie może. Pozostaje więc jedynie to, co było dawniej, naśladownictwo w ciasnych nader granicach, do czego przyłącza się dziwna i głupia odporność wobec wszystkiego, co choćby z lekka trąci samoistnością. Nawet w naśladowaniu rzeczy obcych zachowuje się pewną rezerwę, która jednakże nie jest bynajmniej dowodem rozumu, lecz braku własnej opinii. Wszystko, co nowe, musi się uleżeć aż do uznania przez drugich za dobre, zanim któryś z naszych pisarzy zdecyduje się coś naśladować.

Autorowie polscy rozpatrywani z tego stanowiska nie wytrzymują przeważnie krytyki. Wystarczy wziąć choćby dwu największych polskich mistrzów romansu, — gałęzi, przygniatającej swym ogromem wszystkie inne rodzaje literackiej twórczości, Sienkiewicza i Prusa, i zastosować do nich to kryteryum. Sienkiewicz stał najwyżej wówczas, kiedy stworzył rzeczy, nie odpowiadające zkąd inąd wymogom sztuki, tj. swą historyczną trylogią. Nie można o niej powiedzieć, żeby zupełnie była wolną nietylko od bezpośrednich, ale nawet literackich wpływów. Są w nim reminiscencye poezyi francuzkiej z czasów roku 48go, jest w niem nawet żywcem wzięty sposób powiązania pojedyńczych części trylogii, ale są to rzeczy, dotyczące więcej szczegółów, niż rzeczy samej. Można się tu dopatrzyć pewnej świeżości i pierwotności obrazów, jest w niej jednem słowem Sienkiewicz takim, jakim go najwięcej cenimy. W „Bez dogmatu“, książce bezporownania najgłębszej, zeszedł on już do roli ucznia, a mistrzami jego Bourget, Tołstoj, Dostojewski, twórcy powieści psychologicznej. Jeżeli się jednak kryteryum Küchenmeistra zastosuje do Sienkiewicza na podstawie ostatniego jego dzieła „Rodzina Połanieckich“ i z niego zechce wnioskować o jego odporności na wpływy postronne, to krytyka wypaść musi fatalnie. Nie ma tam już ani części subjektywizmu w ocenie rzeczy, tkwiącego w powieściach historycznych, ani wnikania we własną głębią z „Bez Dogmatu“ i pozostaje tylko zwykła, ładnym stylem pisana powieść obyczajowa à la Kraszewski i nic więcej. Jest za to modna w świecie literackim propaganda na rzecz powrotu do religii, którego sztuczność zbyt jasno przebija w niezgrabnem wysunięciu tam, gdzie go najmniej było potrzeba. Nie jest to dla Sienkiewicza problematem, bo w takim razie ujawniłby się we wszystkiem bez umyślnego wysuwania. Jest to tylko owczy pęd za przywódzcami literatury zachodu, Bourgeta, Huysmansa i t. d. i t. d.

W wyższym stopniu wytrzymuje już krytykę Prus. Ten jest przynajmniej nieczułym na wpływy, pochodzące już z drugiej ręki, tj. literackie. Choć więc nie umiał się nigdy wyemancypować od dawania wyrazu opinii pewnej grupy ludzi, czyni to przecież na swój wyłącznie sposób. Główną jednak jego zaletą jest posiadanie oryginalnego ujęcia problematu, co u Sienkiewicza nie występuje nigdy z taką siłą żądzy rozwiązania subjektywnego. Powieści Prusa czynią wrażenie, że dla tego tylko są napisane. Mimo to jednak siedzi ten pisarz zanadto w dążeniach swego otoczenia, a w ostatnich czasach stało się z nim podobnie jak z Sudermanem w literaturze niemieckiej. Powodzenie „Lalki“ popchnęło go do skopiowania samego siebie w „Emancypantkach“ tak, że robią one wrażenie wyczerpania się inwencyi autora. Znowu te same a przynajmniej analogiczne figury obracają się w tych samych prawie warunkach. Występuje tu również ta sama co w ostatniej powieści Sienkiewicza idea reakcyi. Nie razi ona wprawdzie u Prusa tak jak u Sienkiewicza, jest jednak w każdym razie dowodem coraz większego braku „odporności na wpływy postronne“ ze strony autora.

Pomijając dramat w poważnem rozumieniu tego wyrazu, o którym śmiało można powiedzieć, że nie istnieje prawie wcale w najnowszej literaturze polskiej wypada wziąć pod skalpel lirykę. Jeżeli do czego to do liryki da się najlepiej zastosować kryterium Küchenmeistra. Liryk, to subjektywista, a poemat liryczny może być o tyle ciekawym, o ile ciekawem jest duchowe wnętrze autora. Tu, gdzie najdrobniejsze uczucie, sensacya, staje się problematem wołającym o rozwiązanie do tego, w kim jako problemat powstało, jest subjektywizm jedyną drogą postępu, a samoistność w ujęciu i rozwiązaniu, jedyną zaletą utworu. Jakże smutno wygląda wynik zastósowania tego kryteryum do liryki polskiej generacyi najmłodszej. Czem są panowie Mirjam-Przesmycki, Zgliński, Jankowski et tutti quanti?

RUSZCZEWSKI.

Tak... to prawda, ale widzisz Władeczku, jeżeli Karol sprzeda kolonizacyi, to społeczeństwo... (*z widocznym embarasem*) gotowo się rozgniewać i kandydaturę odrzucić. Przecież dzienniki nasze...

WARECKI.

Tu sęk właśnie. Trzeba sprzedaż osłonić tajemnicą.

RUSZCZEWSKI.

Tajemnicą?... To niemożliwe, Władeczku.

WARECKI.

Ułożyliśmy tak, mój Michale, że Karol sprzeda symulacyjnie majątek komukolwiek ze znajomych lub dalszej rodziny, a ten dopiero odstąpi go kolonizacyi, oczywiście za pewnem z naszej strony wynagrodzeniem. W ten sposób syn mój jest zakryty i kandydaturze jego nic nie stanie na przeszkodzie.

RUSZCZEWSKI (*kręci głową*).

Symulacya? Hm! Wstyd pomyśleć...

KAROL.

Cóż począć? Dira necessitas.

RUSZCZEWSKI.

Mnie się zdaje, że to się nie uda. Ktoby tam chciał przyjąć na siebie miano kurczyciela ojczyzny.

(*Chwila milczenia. Karol i Warecki spoglądają na siebie.*)

WARECKI.

Sądzę, że ktoś z rodziny, której przez całe życie tyle dobrego świadczyłem, powinien się poświęcić.

RUSZCZEWSKI (*z przestrachem*).

Z rodziny? Z naszej rodziny?

WARECKI.

Mój Michale! mówmy otwarcie. Sądziłem, że ty z własnej inicyatywy zaofiarujesz nam usługi swoje.

RUSZCZEWSKI.

Ja? Co wy mówicie? Co? (*po chwili*). Na moich siwych włosach nie ma ani jednej plamy, a teraz... teraz u grobu miałbym je splamić. Pan Karol chce sztandar zdradzić, a ja mam iść pod pręgierz.

KAROL.

Przesadzasz, panie Ruszczewski.

WARECKI.

Mój drogi! Sentymentalne deklamacye popłacają przy kieliszku, z trybuny, przed szeroką publicznością, ale tu w ciasnem kółku rodziny to robi wrażenie kremu przesłodzonego. Wróćmy do prozy, Michale.

RUSZCZEWSKI.

Dajcie wy mi święty pokój. To wszystko naprożno. Jeżeli prozą jest błoto, to ja tam nie wejdę. Kpicie sobie ze starego, niech wam tego Bóg nie pamięta (*chce wychodzić, Warecki bierze go za rękę*).

WARECKI.

Ależ nie rejteruj, mój drogi. Węzły rodzinne i wynikające z nich obowiązki, to świętość. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

RUSZCZEWSKI.

Rodzina, — święte słowo. Chcecie, a zginę dla was, ale bez plamy, mój Władeczku, — bez skazy.

WARECKI.

Plama... skaza... ta egzaltacya jest rozpaczliwą. Cóż tobie szkodzi, że tam jakie piśmidło palnie sobie artykuł o kurczeniu ojczyzny. Społeczeństwo zbyt jest rozumne, by w myśl tych narodowych palaczy wtrącać się do prywatnych stosunków majątkowych. Warknie tam jeden i drugi, ale rzecz pójdzie w zapomnienie. Zresztą ty nie masz już żadnych ambicyi, o urzędy obywatelskie się nie starasz, o mandaty poselskie nie dbasz, nic zatem stracić nie możesz.

RUSZCZEWSKI.

Mam ambicyę uczciwego człowieka. Nie chcę być żadnym posłem, patronem, delegatem ale chcę pozostać człowiekiem honoru.

KAROL.

Ależ my darmo niczego nie chcemy. Ofiarujemy za tę usługę tysiąc talarów.

RUSZCZEWSKI.

Co? Więc moją opinię, moją uczciwość mam sprzedać! Pfuj! panie Karolu! pfuj!

KAROL (*ostro*).

Panie Ruszczewski! Jak śmiesz?! Żebrałbyś bez naszej pomocy.

RUSZCZEWSKI.

Przepraszam, bardzo przepraszam. Ale jak serce zaboli, to ust sznurować nie można.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Słyszą wonie i *czują* tony, bo takim zaburzeniom podlegają ich młodzi koledzy z zachodu, z tą tylko różnicą, że u naszych panów można przy szczerości tych zaburzeń położyć znak zapytania, podczas kiedy w tamtych są rzeczywiście szczeremi. Naśladownictwo to posuwają aż do najmniejszych drobnostek formalnych, tak, że zachodzi poważna obawa czy zupełny brak oryginalności i wszelkich cech subjektywnych (pomimo „ja“, „mnie“, „mój“) nie jest dowodem zupełnej próżni umysłowej. Chcą być „modern“ za każdą cenę, nie pomni, że „modern“ znaczy dziś tyle co odrębny. Nawet liryk tego talentu, co Tetmajer, który w ostatnich wierszach dał dowód otrząśnięcia się do pewnego stopnia z obcych naleciałości, do niedawna jeszcze (ob. dramat „Sfinks“) był naśladowcą. Wyjątek stanowi Kasprowicz, o którym można powiedzieć to co o Prusie, że jest przynajmniej nie czułym na wpływy literackie. Wyczerpuje go wprawdzie dziennikarstwo, pochłania akcya społeczna, ale tam gdzie wychodzi po za to („Anima lachrymans“ „Miłość“) umie być sobą. Świadczy o tem, z czego mu czynią zarzut nieopanowania formy, walka i szukanie jej dla najodpowiedniejszego ubrania swych myśli, bo w gotowe przyjęte już formy dadzą się ująć li tylko myśli przyjęte.

Jak w obec tego wyniku przedstawia się najbliższa przyszłość naszej literatury? Oto w twórczości literackiej wyższego stylu, jak powieść i dramat, nie mamy na razie żadnego przyrostu w twórcach. Przyczyna tego leży nie tyle w ich braku, ile w trudnościach, z jakiemi połączonem jest wydobycie się na powierzchnią, niejednokrotnie pomimo rzeczywistego talentu. Źródła tych trudności należy zaś szukać, obok obojętności kół szerszych, głównie w małoduszności sfer literackich, niedopuszczających żadnego współzawodnictwa. Najświeższym przykładem jest wynik ostatniego konkursu dramatycznego Wydziału krajowego we Lwowie. Nagrodzono komedyą Wołowskiego p. t. „Towarzysz pancerny“, sztukę, której powodzenie może tylko być potwierdzeniem słów Hebbla: „Es giebt Stücke denen gegenüber das Publicum durchfällt.“

Stanisław Womela.



Ze Szląska polskiego.

(*Wyczekiwanie funduszu kolonizacyjnego dla Szlązka. — Życie po towarzystwach. — Pieśniarze szlązcy. — Franciszek Wilczek z Dobrzynia, — Odwaga cywilna ludu prostego. — Czy może sprawa polska na Szlązku istnieć bez duchowieństwa? — Skłonność partyi Kuryera Górnoszlązkiego do wycofania się. — Polska spółka kredytowa w Bytomiu*).

Uznawanie polskości na Szlązku ze strony niemieckiej zdaje się być dziś rzeczą dokonaną; na całej linii widać wahanie się — i nieledwie zamęt. Nie mogąc przeszkodzić naturalnemu rozwojowi spraw, śledzą i węszą i ważą, a w każdym razie wyczekują czegoś nieokreślonego, czegoś w guście otwarcia się śluzów milionowych, tym razem na kolonizacyą Szlązka.

Wiosna nadchodzi i do życia budzi. I w polskich szeregach słychać krzątanie się. Życie po towarzystwach bije tu tak żywo, że i największy sceptyk, patrząc na nie, uwierzyć musi w pogodniejszą przyszłość. Słyszałem rodaków z Księstwa przyznających się, że po raz pierwszy na Szlązku usłyszeli pewne prześliczne piosenki polskie, chórem przez całe zebranie śpiewane, które w innych stronach ojczyzny ledwie w solowych popisach przy fortepianie rozbrzmiewają. Tu młodzież nie tylko śpiewa lecz i sama tworzy pieśni. Pod tą zgrzebłą siermięgą niejeden Lubiński się ukrywa, a sądząc z niektórych początków, śmiało przypuszczać można, że Lubiński na długo ani największym, ani ostatnim pieśniarzem nie zostanie. W szeregach tych domorosłych pieśniarzy niepośledne miejsce zajmuje Franciszek Wilczek, syn gospodarski z Dobrzynia pod Opolem. Wiele jego piosenek umieszczonych w śpiewniczku Górnoszlązkim, wydanym przez p. Br. Koraszewskiego, red. „Gazety Opolskiej“, śpiewa cały Szlązk. To, co Lubiński nader ostrożnie wypowiada, śpiewa Fr. Wilczek, a z nim młodzież szlązka na całe gardło:

> Ja jestem Polakiem z krwi, kości i ciała;
> Choćby mnie niemczyzna i zatopić chciała,
> To na wierzch wypłynę i Niemcom do ucha
> „Ja jestem Polakiem“ krzyknę co mam ducha.

To jawne przyznawanie się już nie tylko do języka polskiego, lecz do polskości bez wszelkich zastrzeżeń, spotykamy i w dalszym promieniu główniejszych centr, i serce rośnie na widok tej odwagi cywilnej, z jaką prosty robotnik lub gospoderz dokumentuje swą polskość na zebraniu w obec reprezentanta władzy, któryby go spojrzeniem rad zmiażdżyć.

Większa część duchowieństwa, a pomiędzy nimi i tacy nawet, którzy niejednokrotnie już składali dowody najlepszych chęci i sprawę polską serdecznie popierają, utrzymuje nie na żarty, że sprawa polska na Szlązku bez księży istnieć nie może.

W istocie wszakże inaczej przedstawia się sprawa. W ostatnim lat dziesiątku bezprzecznie bardzo wielkie postępy porobiła polskość na Szlązku. Działo się to wszystko i dzieje do dziś dnia bez najmniejszej pomocy ze strony kleru. Odwrotnie, byliśmy tu świadkami rzeczy niebywałych, widzieliśmy lud polski broniący całym swoim bytem i dobytkiem ołtarzy kościelnych w czasie walki kulturnej, a po chwili te same ołtarze błogosławiące wrogom i ciemiężycielom ludu. Widzieliśmy sługi ołtarzy w pierwszych szeregach naszych faraonów a nawet do dziś dnia grupi się większa część kleru ku ogólnemu zgorszeniu około Kuryera Górnoszl. i nie z ludem, lecz przeciwko niemu walczy.

Że mimo tego wszystkiego polskość ogromne z dnia na dzień robi postępy, podczas gdy Kuryer Górnoszl. dotychczas i na czernidło drukarskie nie zarabia, jest tajemnicą nie mniej publiczną. I gdzież tu pozostaje miejsce na uzasadnienie tak śmiałego twierdzenia, jakiem jest owa legenda, że polskość bez kleru istnieć nie może? Wpływu, jaki duchowieństwo na stósunki tutejsze, a mianowicie na lud prosty wywiera, nikt lekceważyć nie może, a i stronnictwu ludowemu byłoby zapewne dogodniej wpływy te mieć raczej po za sobą, niż przeciw sobie, lecz straszaków z tego stanu rzeczy komponować nie ma najmniejszej potrzeby. Jeżeli uwagi czy pytania tego rodzaju, które w ostatnim czasie dość często spotykamy, mają być zapowiedzią przyszłej rejterady partyi Kuryerowej, to może ona być przekonaną, że polska partya ludowa na Szlązku ma pod dostatkiem grzecznych reprezentantów, którzy rejteradę Kuryerową z zachowaniem wszelkich honorów ułatwią bez pomocy jakichś tam straszków i straszaków.

W drugiej połowie marca r. b. założono w Bytomiu spółkę kredytową polską. Nie wiadomo, z jakich przyczyn dotychczas tak przeraźliwie cicho o tem, jak gdyby inicyatorzy własnej odwagi się przelękli. Panowie ci darują, że bez ich wyraźnej aprobaty sprawę tę na tem miejscu poruszam, lecz po dokonanym czynie, jakim jest ukonstytuowanie się spółki, sprawa ta już do ogółu należy i przestaje być prywatną. Radzibyśmy bardzo w sprawie tej coś ze źródła samego usłyszeć, do czego po upływie miesiąca mniemamy mieć prawo.

Chim.

Listy z Berlina.

Berlin 1 maja.

(*Pierwszy maj wśród społecznej demokracyi i w prasie. — Mowa Bebla. — Postępy ośmiogodzinnego dnia roboczego. — „Demokracya narodowa“ przez Arystokratę. — Jul. Wolff o socyaliźmie z katedry.*)

Święto robotnicze pierwszego maja nie przejmuje już Europy taką obawą, jak pięć lat

---

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M. W.**

III.

U wstępu na wiejską uliczkę wiatr jeszcze dął i śnieg zasypywał drogę, ale już w środku wsi zacisznie było, ciepło i przyjemnie. Przy jednej chacie pies poszczekiwał, przy drugiej kobieta jakaś w sukmanie zarzuconej na głowę wracała do domu, a ujrzawszy jadących przystanęła we drzwiach, aby się im przyjrzeć. Z dalszych chałup dolatywał śpiew dziewcząt. Wśród mieszkań ludzkich mniej było wiatru i śniegu i mrozu.

— A toć przecie Gryszkino! — zawołał Brechunow.

— Nie inaczej — przytwierdził Nikita.

Było to Gryszkino w istocie. Zdarzyło się, że podróżni skręcili niepotrzebnie w lewo i zrobili koło ośmiu wiorst drogi niezupełnie w tym kierunku, jakim jechali, ale pomimo to zbliżyli się do celu podróży. Z Gryszkina do Goriaczkina było wiorst pięć.

We wsi zastąpił im drogę wysoki mężczyzna, który szedł środkiem uliczki.

— Kto jedzie? — zawołał zatrzymując konia, ale zaraz poznał Brechunowa, uchwycił się hołobli i posuwając po niej rękami, doszedł do sani i przysiadł na koźle.

Był to znajomy Brechunowa, chłop imieniem Izajasz, znany w całej okolicy jako głośny koniokrad.

— A, Bazyli Andreicz! Dokądże to Pan Bóg prowadzi? — pytył Izajasz, owiewając Nikitę oddechem wódką przesiąkniętym.

— Do Goriaczkina jechaliśmy.

— I aż tuście zajechali? Powinniście byli jechać na Małachowo.

— Zapewne, aleśmy nie trafili — odparł Brechunow, zatrzymując konia.

— Śliczny konik — rzekł Izajasz, przypatrując się gniadoszowi i wprawnym ruchem ręki poprawiając rozluźniony węzeł jego ogona. Nocować tu będziecie, co?

— Nie, jechać musimy koniecznie dalej.

— Pilną widać potrzebę macie.

— Abyśmy tylko znowu nie zbłądzili — wtrącił Nikita.

— A gdzieżbyś tu miał błądzić? Jak zawrócisz z powrotem tą samą ulicą, jedź prosto przed siebie, a potem za wsią znowu prosto przed siebie. W lewo nic skręcaj. Dostaniesz się na bity gościniec i wówczas dopiero weź w lewo.

A skręt z gościńca kędy prowadzi: letnią czy zimową drogą?

— Zimową. Będą tam zaraz krzaki, a z drugiej strony wiecha dębowa, z liśćmi, ona to właśnie boczną drogę wskazuje.

Brechunow zawrócił konia i popędził go tą samą drogą, którą do wioski wjechali.

— Ale bezpieczniejby tu nocować! — zawołał w ślad za nim Izajasz.

Brechunow zamiast odpowiedzi przynaglił bieg konia. Zdawało mu się, że nie może być nic łatwiejszego, jak przejechać po równej drodze pięć wiorst, z których dwie lasem prowadziły, zwłaszcza, że wiatr jakby ucichł i śnieg przestawał padać.

Jadąc z powrotem po utartej między domami drodze, minęli znowu to samo podwórze z rozwieszoną bielizną, posunęli się ku jęczącym żałośnie wierzbinom i wydostali w otwarte pole. Zamieć nie ucichła, zdawało się owszem, że silniej jeszcze szalała. Drogi nie było żadnej i tylko wiechy wskazywały, że jadą dobrze, ale i te trudno było rozróżnić, bo wiatr bił w twarz.

Brechunow przymrużał oczy, schylał głowę, wypatrując owych wiech, ale popuszczał lejce koniowi, w instynkcie jego pokładając

wstecz, kiedy to wykupywano magazyny broni i barykadowano sklepy ze szkłem. Przecież opiewany przez poetów i słowiki piękny miesiąc maj budzi wciąż niemiły dreszcz w klasach posiadających i rządzących, którym zwycięzkie *hurra* proletaryatu mówić się zdaje jak ów duch Dęboroga: redde quod debes. Uczestnicy zaś i sprawcy majowego święta, robotnicy, zupełnie się do istniejących zastosowali warunków. Urządzono dziś wprawdzie w Berlinie cały szereg zgromadzeń porannych, podczas których mówcy wyjaśniali znaczenie majowego święta, ale udział w nich nie był przymusowym dla członków partyi; wieczór za to zgromadza tłumy, które noszą świąteczną szatę i usposobienie, nietylko dla tego, że w ich szarem życiu przybył jeden więcej uroczysty i radosny dzień, ale i dla tego, że wydaje im się, jakoby każdy rok przybliżał ich do idei, której służą. Najciekawszą z mów wygłoszonych było przemówienie deputowanego Bebla wobec parotysięcznego zgromadzenia przed biustami Lassale'a i Marxa. Siwy już trybun ludowy nie góruje postacią, lecz głosem, płynną, świetną, znaną zresztą z przemówień parlamentarnych wymową. Za nych deklamacyi, wykrzykników, kwiatów retorycznych, tylko na czysto faktycznym tle ruchu lat ostatnich, postępów prawodawstwa fabrycznego, rezolucyi międzynarodowego kongresu robotniczego w Paryżu z głębokiem przekonaniem wypowiedziana nadzieja, że niedalekim jest już moment, w którym gospodarka dzisiejsza ustąpić musi przyszłej ludowej, opartej na wspólnej własności środków produkcyi. Potężnym sprzymierzeńcem w tem przeobrażeniu jest, jak Bebel zaznacza, technika, gdzie maszynę parową już dziś zastępować zaczyna elektryczność; wprowadzenie tej nowej siły, zarówno jak i powstanie nowych centrów, eksportujących towary na wschodzie i zachodzie, zmienić musi postać całego ekonomicznego świata, jeżeli nie chcemy utknąć zupełnie w nowym kryzysie nieustannym, który trwa od lat wielu i charakteryzuje się przewyżką produkcyi nad spożywaniem.

Święto majowe stawia sobie za hasło i cel najbliższy osiągnięcie ośmiogodzinnego dnia roboczego. Hasło to podniesionem było jeszcze przez Komenjusza, który wyraźnie powiada, że ideałem życia ludzkiego jest podział dnia na trzy części: osiem godzin snu, osiem spoczynku i zajęcia własnemi sprawami, osiem pracy. Występuje ono również w pismach Helwecyusza (Homme machine), Rousseau'a, Wielanda, słowem nie jest bynajmniej nowem; że zaś nie jest również mrzonką, niepodobną do osiągnięcia, na to dowód mamy w rozwoju czasów ostatnich. Przed półtora rokiem postanowił rząd angielski zaprowadzenie ośmiogodzinnego dnia roboczego we warsztatach marynarki. Próba dała tak zadawalniające rezultaty, że postanowiono ponowić ją dla pracowników pocztowych. Inicyatorami w tym samym kierunku w Anglii okazały się gminy miejskie. Londyn, a za nim 150 miast angielskich postanowiły oddawać roboty tym przedsiębiorcom, którzy złożą zobowiązanie zajmowania robotników tylko 49 godzin na tydzień. W Ameryce cały szereg stanów wprowadza w warsztatach rządowych ośmiogodzinny dzień roboczy, np. Nebraska i New-Jork. Na lądzie stałym Europy, ośmiogodzinny dzień roboczy znajdujemy tylko w niektórych kopalniach, gdzie wprowadzono trzy zmiany robotników w miejsce dwóch. Wszędzie rezultaty, co do zdrowia i zadowolenia robotników okazują się świetne, wzrasta również intenzywność, a więc ilość wykonanej w godzinie czasu pracy.

Istotnie demokracya społeczna dumną być może, że wszędzie polityka społeczna wstępuje w ślady, jakie jej socyalizm zakreśla. Spełniać pewne życzenia robotniczych partyi staje się już nietylko obowiązkiem humanitarnym, ale nawet nakazem dobrze zrozumianego interesu osobistego. Za dowód pierwszego posłużyć może prawo o pracy robotnic, które przyjęto olbrzymią większością głosów w kantonie zurychskim w sierpniu ostatniego roku,*) za dowód drugiego fakt, że 9 browarów w Berlinie ogłasza dzisiaj, iż dobrowolnie święcić będą dzień 1 maja! Otóż to korzyść, że żadne zgromadzenie robotnicze bez piwa obejść się nie może! Piwowarzy przerabiają się na demokratów społecznych, i nakazuj tu ludowi oszczędność lub wstrzemięźliwość!

Policya przecież bojkotu się nie obawia; czyniąc swą powinność skonfiskowała połowę wydawnictw majowych — polityczne karykatury. Przedstawiciele jej jak zawsze należą do najgorliwszych uczestników zebrań, pojawiają się wraz z mówcą i wychodzą ostatni. A przytem jeżeli partye robotnicze są międzynarodowe, to i instytucya tych stróżów bezpieczeństwa jest również tak międzynarodową, że korespondent nasz, który miał przyjemność zapoznać się z nią w Warszawie, Petersburgu i Wiedniu, miał ciągłe halucynacye, że odnajduje znajome rysy, pomimo nieco odmiennych mundurów.

A teraz słówko o pracach, które w postaci broszur i artykułów pojawiają się dla osłony istniejącego porządku. Wybieramy z nich dwie: broszurkę bezimienną „D e m o k r a c y a n a r o d o w a" przez A r y s t o k r a t ę, orazumieszczoną w Z u k u n f t quasi naukową pracę profesora uniwersytu Zürichskiego Jul. Wolffa o S o c y a l i ź m i e z k a t e d r y. Arystokrata stwierdziwszy, że zwycięztwo demokracyi społecznej byłoby zaprzeczeniem wszelkich panujących dotychczas praw i obyczajów, i nakładałoby na indywidyualność ludzką pęta, dochodzi do wniosku, że walczyć z nią należy i zapytuje, jakiemi środkami? Dotychczasowa obojętność, policyjne gwałty, opinia społeczna, nieokreślone dążności ugodowe i drobne środeczki społeczne nic nie pomagają. Wróg nietylko nie ustępuje, ale rośnie. Jedynym przeciwko niemu środkiem jest *demokracya narodowa*.

Hasło to tak zużyte, że patentu wynalazku nigdzie by na nie autor nie otrzymał, bo oto na czem polegać ma owo narodowe zdemokratyzowanie: Panujący występować powinien nie jako majestat niedostępny, którego krytykować nie wolno, ale jako przyjaciel swojego ludu, pierwszy między równemi. Ważniejsze uchwały stanowione być mają tylko jednogłośną zgodą, a więc nasze narodowe *liberum veto*, oskarżane tylokrotnie przez swoich i obcych, znalazło przecież mózg, któremu wydaje się być najlepszą formą głosowania!

Swoboda nauczania, zgromadzeń, szeroka, ale nie krępująca jednostki polityka społeczna, zmniejszenie liczby policyi i wydatków państwowych, demokratyzacya sądów, wojska, urzędów, a wreszcie całego społeczeństwa, oto szereg recept podany przez autora na kilku zaledwie stronnicach. Nie protestujemy przeciwko żadnej, przyznać jednak trzeba, że największą zaletą rozprawki jest, iż obejmuje tylko 24 strony!

Inną już bronią, wiele cięższego kalibru walczy Wolf, znany może czetelnikom ze swojego „Systemu polityki społecznej" (Sztutgart 1892 r.) i licznych prac z dziedziny polityki skarbu i banków, a także z głośnej polemiki, jaką prowadził ubiegłej zimy ze Schmollerem*). Uczony Zurichski podnosi przeciw s o c y a l i z m o w i z k a t e d r y najcięższy dlań, a prawdopodobnie i najmniej przyjemny zarzut, mianowicie, że ma on te same zasady i cele, co socyalizm robotniczy, jeżeli zaś staje z ostatnim w opozycyi, jest to tylko następstwem cofania się przed ostatecznemi konsekwencyami. Wolff przytacza teoryą Schmollera o zmniejszaniu się liczebnem stanu średniego, tłomacząc to zjawisko na swój sposób, a więc że stan średni zmniejsza się nie

*) Prawo to nakazuje 56 godzin pracy tygodniowej; za wszelką pracę daną po za tym do domu robotnica pobierać ma 25 proc. więcej niż zwykła płaca.

*) Polemika ta była czysto osobistej treści. Schmollerowi zarzucono, że samowolnie katedry obsadza, on zaś odparł, że J. Wolffa za uczonego nie uznaje i do niemieckich uniwersytetów by go nie dopuścił.

---

całą nadzieję. I gniadosz w istocie nie zbaczał z drogi, wyczuwał ją kopytami i wedle potrzeby skręcał w prawo lub w lewo, pomimo więc wzmagającego się wciąż śniegu i wiatru, wiechy migały to z jednej, to z drugiej strony.

Po dziesięciu mniej więcej minutach takiej jazdy ujrzeli w prostej linii przed koniem przedmiot jakiś, poruszający się w skośnej siatce smaganego wiatrem śniegu. Byli to nieznani jacyś towarzysze drogi. Gniadosz doścignął ich wkrótce i przedniemi nogami w płozy uderzył.

— Wymija-a-a-ə-j! zawołano z sanek.

Brechunow zaczął ostrożnie wymijać. W saniach siedziało trzech mężczyzn i kobieta. Całe towarzystwo wracało widocznie z odpustu. Jeden z mężczyzn walił konia suchą gałęzią, dwóch innych krzyczało i wywijało ramionami, a kobieta owinięta chustkami i ubielona śniegiem, siedziała skurczona i milcząca w głębi sanek.

— A zkąd to? — wrzasnął Brechunow.

— Z...o-o-owa! — zabrzmiało w odpowiedzi.

— Zkąd?

— Z..o-o-owa! — krzyknął ile sił starczyło jeden z chłopów, ale nadaremnie, nie można go było zrozumieć.

— Wal! Nie daj się wyprzedzić?

— Z odpustu zapewne?

— Wio, wio! Wal Semenko! Mijaj! Wal!

Konie uderzyły o siebie, omal się nie zaczepiły, potem się rozbiegły i gniadosz wysunął się naprzód.

Kosmaty, z odętym brzuchem, ubielony śniegiem konik, sapał ciężko pod niską duhą i dobywając reszty sił, przebierał w głębokim śniegu krótkiemi nogami. Głowa jego widocznie młoda, z wyciągniętą, jak u ryby, dolną wargą, rozdętemi chrapami i stulonemi ze strachu uszami, trzymała się przez jakiś czas na równej linii z ramieniem Nikity, ale niebawem w tyle pozostawać zaczęła.

— Hej, co wódka wyrabia z ludźmi! — zauważył Nikita — na śmierć szkapę zadręczą. Azyaty przeklęte!

Przez chwilę słychać jeszcze było chrapanie zmęczonego konia i pijackie wrzaski chłopów, poczem najpierw ucichło chrapanie, a dalej umilkły i krzyki. I znowu cicho dokoła, tylko wiatr huczy, a od czasu do czasu płozy zaskrzypią, sunąc po ogołoconej miejscami drodze.

Spotkanie to rozweseliło Brechunowa i dodało mu otuchy. Śmielej teraz, nie zważając już na wiechy, popędził konia, o którego zmyślności miał jak najlepsze przekonanie.

Nikita, nie mając nic do roboty, zadrzemał. W tem koń stanął, a parobek kiwnął się tak silnie, że o włos z sanek nie wyleciał.

— Ponoś znowu źle jedziem — odezwał się Brechunow.

— Albo co?

— Wiecht nie widać. Zboczyliśmy chyba z drogi.

— Jeżeli tak, to ją trzeba odszukać — oświadczył krótko Nikita, wyskakując z sanek.

I znowu, lekko stąpając wykrzywionemi do środka stopami, zaczął brodzić po śniegu. Chodził teraz długo, znikając w oddali, to ukazując się i znowu znikając, aż nakoniec wrócił do sanek.

— Nijakiej tu drogi nie ma, chyba tam dalej będzie — oświadczył wsiadając.

Zmierzchać już zaczynało. Śnieżyca nie wzmagała się, ale też i nie cichła.

— Gdybyśmy przynajmniej tamtych chłopów usłyszeli — mówił Brechunow.

— Ha, nie dopędzili nas! Zapewne daleko znajdujemy się od drogi, a może i oni zabłądzili, odparł Nikita.

— I w którąż stronę teraz pojedziemy? — pytał Brechunow.

— Najbezpieczniej będzie spuścić się na konia — doradził Nikita. — On nas dowiezie. Dajcie lejcz.

Brechunow usłuchał tem chętniej, że ręce, pomimo ciepłych rękawiczek, zaczynały mu sztywnieć.

Nikita ujął lejce i trzymał je nieruchomie, ufny w rozum swego faworyta.

Jakoż w istocie, rozumne zwierzę, zaczęło

dla tego, aby członkowie jego byli coraz mniej zamożni i zmuszeni do przechodzenia w szeregi proletaryatu, lecz że zamożność ich się powiększa i przechodzą tedy do klasy zamożnej. Zarzutom takim, jak przecenianie wpływu państwa, pomijanie momentów etycznych, groźba panoszącego się biurokratyzmu, — trzeba w każdym razie przyznać dużo trafności.

Praca Wolffa choć nie głęboka czyta się z zajęciem i jest ciekawym dowodem, że i na olimpie naukowym, na którym tak niepodzielnie profesorowie-ekonomiści utrzymać się pragną, wybuchają burze. Z zadowoleniem przyglądają się im stojący niżej, istotni przedstawiciele socyalizmu, którym olimp praw do naukowego stanowiska zaprzecza.

S. Z. D.

Z estrady i sceny.

(*Występy pani Leszczyńskiej*).

Trzy razy tylko widziałem panią Leszczyńską na scenie: w „Honorze“, „Sztuce przypodobania się“ i „Weselu Figara“. To też znajdując się w położeniu malarza, którego model zaprędko zniknął z pracowni, w sylwetce warszawskiej artystki trzymać się muszę z konieczności granicy konturów.

Zdaje mi się, że pani Leszczyńska jest talentem charakterystycznym, któremu brak szerokiego zakroju. Jej wdzięk, jej ruchy, jej głos i artyzm interpretacyi nie sięgają na wyżyny tej wielkiej drabiny, którą tworzą indywidualizmy ludzkie z całą gamą różnolitych namiętności, uczuć, wrażliwości, pojęć i temperamentów, — lecz tylko na niższych szczeblach królują w pełni swych blasków. Tu za to talent pani Leszczyńskiej staje się kryształowem zwierciadłem życia i w galeryi typów, rzucanych przed rampę zdradza duszę mistrza i technikę wirtuoza. Taka Alma z „Honoru“ na przykład! Widziałem w tej właśnie roli kilka pierwszorzędnych artystek i lękałem się nieco, że gość z Warszawy, o typie tak wybitnie słowiańskim, nie da nam całej duszy berlińskiej gryzetki. Jest bowiem w Almie jakiś rys niemiecki i więcej nawet: jakieś tchnienie czysto lokalne, podobnie jak w „Gnieździe rodzinnem“ już nie ogólno-narodowy koloryt uderza, lecz gdzieniegdzie prowincyonalne, wschodnio-pruskie mienią się barwy. Alma jest z krwi i kości Berlinką, — z tem tchnieniem naiwnego zepsucia i pragnieniem użycia, z tą flegmą niemiecką i atmosferą suteryn, z tem żargonem stolicy i suchą, jałową umysłowością berlińskiego półświatka. Powiedział ktoś, że typ ten jest „ganz berlinisch und will berlinisch gespielt werden“, a polskie artystki lubią polonizować cudze postacie.

Przypominam tylko, jakie dziwolągi ulepiono na scenie naszej z Ibsenowskich kreacyi. Cały charakter norwegskiego mistrza rozpłynął mi się i zginął, a zamiast Ibsena widziałem trochę Fredry i trochę Zalewskiego. Albo „Krzywoprzysięzca“ Anzengrubera? Cóż pozostało z dramatu? Trochę „Karpackich górali“. Podobnie dzieje się z Almą i dopiero pani Leszczyńska, pierwsza i jedyna może na polskiej scenie, pokazała nam, zamiast polskiej transkrypcyi Sudermanna — samego poetę. Jej Alma była „berlinisch“, — bez francuzkiej pikanteryi bez warszawskiego temperamentu, — i dla tego właśnie z trzech na wstępie wymienionych kreacyi, tę postać stawiam najwyżej. Odtworzyć duszę pokrewną i dać siebie samego na scenie to ulubione zadanie artystów, — ale wyjść po za siebie, przez godzin kilka wchłonąć inny temperament, uśpić własne „ja“ etnograficzne i być Anglikiem, Włochem lub Niemcem, cholerykiem lub sangwinikiem, rzeźbioną krużą, filgranem wiotkim lub produktem mętów suterynowych, — to zadanie godne wielkiego talentu. Powtarzam raz jeszcze, że pani Leszczyńska talentem swoim nie ogarnia szerokiej gamy typów psychologicznych, ale w swoim zakresie, w ciaśniejszym obrębie charakterystyki niższej, półświatkowej i brukowej, w dziedzinie kokieteryi jaskrawszej i subretkowych kreacyi, — tam wszędzie, gdzie Rafaelowską „*gentilezzę*“ zastępuje genre niderlandzkie, — tam warszawska artystka rozwija przedziwną giętkość i zdolność interpretacyi. Jej Alma posiada chwilami jakąś senną ociężałość, to znów krzykliwe, pawie porywy wesołości, i jakieś oniešmielenie pół-prostytutki, która jeszcze nie poluje w „Café National“, ale już „Verhältniss“ traktuje jako rzemiosło. I tak się otula w peniuary swoje, tak oryginalnie rusza się na scenie, tak bezmyślnie lub lękliwie spogląda na brata i publiczność, że w tych zewnętrznych formach jest cały klucz charakteru, stosunków i życia. Tam wstydu już nie ma, tam jest tylko strach, aby między nią, a wesołym lupanarem nie stanął Robert Heineke.

I czuje publiczność, że to dziecko suteryn berlińskich spija francuzkiego szampana dla tonu i za nic w świecie nie przyznałoby się do gminniejszych gustów, ale zachwycając się głośno butelką o złoconej szyi, myśli o ulubionej „Berliner Weisse“. Bez egzaltacyi i temperamentu warszawskiej gryzetki, bez perełkowego humoru i nerwów Paryżanki, jest Alma pani Leszczyńskiej żywem odbiciem berlińskiego typu.

Rola hrabiego de Letorieres w „Sztuce przypodobania się“ i Zuzanny w „Weselu Figara“ nie nastręczały warszawskiej artystce sposobności rozwinięcia całej siły i całej istoty talentu swojego, ale świadczyły wymownie, że pierwszorzędna rutynistka przemawia do nas ze sceny. Może chwilami w błyskotliwej swobodzie pani Leszczyńskiej było jakieś coś mówiące z cicha: „Chcę być swobodną“, — może to „chcę“ nakładało miejscami barw nadto soczystych, może jakaś odrobina powściągliwości, jakiś ton bledszy gdzieniegdzie byłby spotęgował wrażenie finezyi i stylu, — ale mimo to obie te role, a mianowicie Zuzanny w „Weselu Figara“, były kreacyą niezwykle piękną. Czuć było Paryż, — ten Paryż 18 wieku — tę sztukę roześmianą i fruwającą, nie jak orzeł rozpięty w niebiosach, lecz jak szczygieł z krzaku na krzak. Zamiast potężnego artyzmu — bawidełka wiotkie, ale tak ślicznie utoczone, tak misternie rzeźbione, że dziś jeszcze mimo całego archaizmu urok swój mają i czar. „Ancien régime“ zginął już dawno, zmiażdżony ciężką stopą nowych ludzi, a jednak to „Wesele Figara“, ta uwertura rewolucyi, jak mówił Napoleon, straciwszy aktualność, nie straciła wdzięku swojego. Pani Leszczyńska zdradza dobre wzory i odczuwa epokę, którą tworzy na scenie. Tu nie prosta erudycya, nie sama szkoła prowadzi artystkę, lecz talent metamorfozy, umiejętność wcielania w siebie historyi. I dla tego ten książę Letorieres i ta Zuzanna nie były zimną prawdą zewnętrzną, lecz dawnem życiem i dawnemi ludźmi.

Żal mi tylko było, że oprócz p. Trapszy, który postać cichego grzesznika w „Sztuce przypodobania się“ skąpał w niezrównanym humorze, i oprocz p. Knapczyńskiego, żywego jak skra i panującego nad rolą swoją w każdym momencie, — ensemble poznańskie działało chwilami wręcz denerwująco. W „Weselu Figara“ ambaras nie znikał ze sceny, klawisze nie odpowiadały, coś się haczyło, coś rwało i zdawało się widzom, że gromada studentów recytuje źle wyuczoną lekcyę gramatyki.

W końcu jedna jeszcze uwaga. Mówiono mi, że p. Leszczyńska marzy o stworzeniu „Nory“ i „Magdaleny“ z „Gniazda rodzinnego“. Cenię odwagę i przedsiębiorczość, ale ostrzegam artystkę przed tym ryzykownym eksperymentem. Fałszywe apetyty wykoleiły już niejedną gwiazdę sceniczną, a o ile z trzech przedstawień

---

poruszać uszami, zwracając je kolejno w jedną lub drugą stronę, potem skręcił w bok.

— Tyle tylko, że mówić nie umie — cieszył się Nikita. — Patrzcie, co robi. Tak, tak biegnij, dokąd ci się podoba!

Wiatr był teraz z tyłu. Zrobiło się cieplej.

— Ach, jaki mądry! — nie przestawał unosić się Nikita. — Kirgizki nasz konik silny wprawdzie, ale głupi. A ten, patrzcie tylko co uszami wyrabia. Nijakiego telegrafu mu nie trzeba: o wiorstę słyszy.

I nie minęło pół godziny, gdy znowu zaszarzało coś w oddaleniu: może las, może wioska, a z prawej strony mignęła wiecha. Wjechali widocznie na drogę.

— Cóż to? Znowu Gryszkino — zdziwił się Nikita. Z lewej strony widniała istotnie ta sama stodoła, z której sypał się śnieg, a dalej tenże sznur z zesztywniałą na bieliznę, koszulami i spodnicami, które wiatr szarpał z taką jak pierwej wściekłością.

I znowu znaleźli się między wiejskiemi opłotkami, wśród których zacisznie było, ciepło i wesoło, znowu dały się słyszeć głosy ludzkie, śpiewy, znowu zaszczekał pies. Było już na tyle ciemno, że w oknach niektórych chałup błyskały światełka.

Pośrodku wsi Brechunow skręcił konia do dużego murowanego domu i zatrzymał go u wrót.

— Wywołaj-no Tarada! — rozkazał Nikicie.

Nikita podszedł do zawianego śniegiem, oświetlonego okna, w którego blaskach migały, wirując w powietrzu, śnieżne gwiazdki — i zapukał trzonkiem od bata.

— A kto tam? — rozległ się w odpowiedzi głos z wnętrza.

— Z Krestow, znajomy, Brechunow — objaśniał Nikita. — Wyjdźcie do nas na chwilę, prosimy!

Postać odsunęła się od okna i w dwie minuty później słychać było odlepianie się wilgotnych drzwi do sieni, potem stuknęła klamka drzwi zewnętrznych z i poza nich wysunął się stary chłop z białą brodą, w wysokiej czapce i krótkim kożuszku, zarzuconym na białą odświętną koszulę, a w ślad za starym wysunął się młody w czerwonej koszulce i skórzanych butach.

— Proszę, serdecznie proszę do chaty — mówił stary.

— Eh, bracie, zbłądziliśmy i tyle! — tłumaczył Brechunow. — Jechaliśmy do Goriaczkina, a trafiliśmy do Was! odjechaliśmy ztąd i znowuśmy zbłądzili.

To ci dopiero trafunek! dziwił się stary — Pietrek, skocz wrota otworzyć — zwrócił się do młodego towarzysza.

— Czemu nie, zawołał raźnie Pietrek i popędził w podwórze.

— Ależ my nie mamy zamiaru nocować — bronił się Brechunow.

— Jakto, chce się wam tłuc po nocy? Ej, zostańcie raczej.

— I radbym nocował, ale nie mogę.

— No, to przynajmniej ogrzejcie się w izbie: trafiacie, jakby umyślnie na kipiący samowar.

— To co innego, ogrzejemy się chętnie — ciemniej już nie będzie, a gdyby zeszedł księżyc, byłoby nam nawet widniej. No, i jakże wstąpimy ogrzać się do chaty, Nikito, co?

— Czemu nie mielibyśmy wstąpić? Ogrzać się nie wielka rzecz, można — odparł silnie zziębnięty Nikita, który o tem tylko myślał, jakby skostniałe członki na piecu rozegrzać.

Brechunow wszedł za starym gospodarzem do sieni, a Nikita wjechał w otwarte przez Pietrka wrota i stosownie do jego wskazówki wprowadził gniadosza pod dach wozowni. Wozownię wyścielała tak gruba warstwa podściółki, że wysoka duha trąciła o przerzuconą w górę żerdź, a kury i koguty, które się tam umieściły na noc, zagdakały, niezadowolone i zaczęły łapkami przebierać. Spłoszone owce, uderzając kopytkami po zmarzniętym nawozie, rzuciły się w kąt. Pies widocznie młody, przeraźliwie zaskomlił i zaczął ujadać na obcego z przestrachem i wściekłością.

Nikita nie zostawił nikogo bez odpowiedzi, rozmówił się ze wszystkiemi; kury przeprosił, upewniając, że dłużej mącić im spoczynku nie będzie; owcom wyrzucał, że boją się, same nie wiedząc czego, a psiaka uspakajał wymownie, przywiązując konia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

osądzić mogę, to królewskość pani Leszczyńskiej w dotychczasowym zakresie stanie się klęską w poważnym dramacie.

Dr. Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(*Korespondenci poznańscy do pism galicyjskich. Błędne sądy. Dekoracye kongresowe. Przyszła wystawa.*)

Podróżując w ubiegłym roku po Galicyi, nabrałem smutnego przeświadczenia, że wśród mieszkańców bratniej dzielnicy panują dziwnie fałszywe pojęcia o stosunkach poznańskich, — naszych ludziach, instytucyach i prądach. Nawet wśród braci po piórze, którzy z zawodu interesują się życiem publicznem wszystkich zaborów, spotykałem czasem dokładniejsze informacye o Turcyi lub Chinach, niż o nas z Księztwa, Prus Zachodnich, Warmii i Szlązka. Badając przyczyny tej dziwnej anomalii, odkryłem przedewszystkiem, że nasze źrodła korespondencyjne lwowskich i krakowskich czasopism dostarczają wody mętnej o stałej barwie jednej koteryi poznańskiej. Niemal każdy elaborat z marką fabryczną Poznania czuć już z daleka atmosferą „Dziennika“ i „Kuryera“, a ztąd publiczność galicyjska zamiast prostych zwierciadeł rzeczywistego życia, otrzymuje jakieś lustra wypukłe lub wklęsłe, — zamiast żywych ludzi i stosunków jakieś Homunkulusy krzywe i spaczone, wylęgłe w retortach „ładu i porządku“. Głównymi dostarczycielami takiej dziennikarskiej margaryny są w pierwszym rzędzie korespondenci krakowskiego „Czasu“ i lwowskiego „Przeglądu“, — dwaj rycerze Kuryerowej koteryi, składający na galicyjskich stołach redakcyjnych olbrzymie porcye społeczno-politycznych fałszów.

Czytelnikom feljetonów moich prezentowałem nieraz bogate kolekcye przeróżnych szmink, mastyksów, czernideł, bród i peruk, któremi redakcya „Kuryera“ operuje w mise en scène wielkich tragikomedyi politycznych p. t. „Podróż do Berlina z przeszkodami“ — „Kościelecccy rozbójnicy“ — „Noc św. Bartłomieja“ — „Wielki Czarodziej“ — „Nieomylność królów“ — „Hejże na warchołów“ i t. d. Cały ten repertuar teatralny przenoszą maszyniści lojalizmu i klerykalizmu na grunt galicyjski, z tą tylko różnicą, że nie lękając się ścisłej kontroli, wysuwają coraz dziwaczniejsze dekoracye i wyśpiewują kuplety, przypominające mi chwilami pewnego francuza, który pytał z całą naiwnością, czy w lasach poznańskich czyhają na zgubę ludzką wilki i niedzwiedzie, — lub podobne Calderonowskim baśniom o jakimś królu polskim, panującym w nadmorskiem zamczysku. Galicyjska publiczność otrzymuje takie ilustracye ludzi i stosunków, że np. w stronnictwie ludowem widzi tylko bandę Ravacholów, — w rządzie pruskim wróżkę dobrotliwą, rozmiłowaną w polskich sierotach — w Kole polskiem ekstrakt mądrości dyplomatycznej, — w każdym malkontencie poznańskim ambitnego pyszałka, w każdym oficerze lub minstrelu „ładu i porządku“ Napoleona, Gambettę, Danta i Szekspira.

Prócz dwóch wymienionych czasopism posiada jeszcze stałego korespondenta „Nowa Reforma“ — a towar poznański eksportowany pod adresem tego dziennika różni się o tyle od korespondencyi „Czasu“ i „Przeglądu“ o ile „Dziennik“ różni się od „Kuryera.“ Niema tam zatem owych drastyczności lojalnych i zakusów inkwizycyjnych, któremi organ duchowieństwa zatruł społeczeństwo, ale jest wstręt do ludzi, nie płynących w miałkiem korycie „Dziennikowego“ konserwatyzmu, niechęć do kierunków demokratycznych, nurtujących społeczeństwo poznańskie, i bałwochwalcza apoteoza wszystkiego, co gromadka królików wielkopolskich fabrykuje dla ratowania własnego tronu i dynastyi swojej. Jest to ten sam wodnity rosołek, którym „Dziennik Poznański“ karmi czytelników, te same banalne ogólniki i świecidełka patryotyczne, ta sama obłuda w charakterystyce „nowych ludzi“ i nowych prądów, ten sam kult dla form przeżytych i wielka maskarada naszego murszu, próchna i królestwa miernoty. Tak to w postępowo-demokratycznej „Reformie“ panoszy się często reakcya poznańska, lubo zastrzegam się wyraźnie, że nie posądzam o grę fałszywą redaktorów krakowskiego czasopisma, a skarżę się tylko na przesadny kredyt moralny, udzielany korespondentowi z dzielnicy naszej.

Inne dzienniki galicyjskie nie posiadają stałych korespondentów w Poznaniu i wiadomości swoje czerpią prawie wyłącznie z naszych organów „ładu i porządku“, fałszujących lub zabijających milczeniem wszystko, co kark ma twardszy, pęt nie narzuca ewolucyi społecznej i wskazuje legiony fałszywych brylantów w skarbnicach życia publicznego, strzeżonych przez narodowe „powagi“. Jeden tylko „Kuryer Lwowski“ rzuca niekiedy smugę światła w te ciemnice, bo w gronie współpracowników jego zasiada Poznańczyk, obeznany dokładnie z praktykami naszych proroków i bengalskim ogniem, bojów stronniczych, a opinią redakcyjną nie kieruje tam wszechwładnie „Dziennik“ lub „Kuryer“, lecz prawo głosu posiadają wszyscy reprezentanci prasy poznańskiej. Reszta codziennych czasopism lwowskich i krakowskich zna tylko jedną „prawdę“ poznańską i jedną „ewangelją“: ład i porządek.

Ku sprostowaniu opinii fałszywej nie służą również wizyty Galicyi w grodzie Przemysława przy sposobności zjazdów i kongresów. Dzielnica nasza przybiera wówczas jakiś odświętny charakter, głośne „Kochajmy się“ huczy na rynkach publicznych, a gość olśniony dekoracyą, szychem i pozorem wywozi tylko wrażenie zachwycającej harmonii i bujnego życia. Na polityczne dyskusye znajduje się zaledwie jakaś przelotna chwila w zamkniętem kółeczku, a i wtedy — rzecz dziwna — Poznańczycy wywierają chwilami takie wrażenie, jakby lękali się rozpiąć surduty przed galicyjską drużyną. Spotykałem ludzi, nie dotkniętych w normalnych warunkach paraliżem języka, którzy na polityczne pytania gości z Krakowa, Lwowa i Warszawy odpowiadali w ostrożnych półsłówkach i ogólnikach, nieufni i przestraszeni, że ktoś z Poznania wywiezie wrażenie rozkładu lub zastoju. Któż zresztą na przestrzeni kilkudniowej wizyty zbadać może mętne i powikłane stosunki nasze?! To też owo „przypatrzenie się z blizka sytuacyi“, które tak często spotykamy na ustach kongresowiczów i wiecowników, jest sobie zwykłą formułką konwencyonalną, pospolitem „façon de parler.“

Wyjątkową poniekąd rolę może jednak odegrać wystawa poznańska, bo tłum galicyjskich gości, spieszący podobno z rewizytą do Poznania, przekona się naocznie, ile przesady i samochwalstwa tkwi w tych rozgłośnych reklamach, któremi w ostatnich czasach otoczono nasz ruch przemysłowy i ekonomiczny. Krążąc niedawno po plantach w towarzystwie jednego z przyjaciół, stanąłem przed szeregiem rusztowań i pytam:

— Cóż my pokażemy Galicyi i Królestwu?

Uśmiechnął się smutnie i odpowiedział:

— Pokażemy im, że nas niemieckość pochłania i dusi.

Zaiste! O gorzkiej tej prawdzie zaświadczy wystawa, bo nie ulega już dzisiaj żadnej wątpliwości, że polski przemysł będzie tam kopciuszkiem. Być może, że kopciuszek ten, jak w bajce, zmieni się kiedyś w księżniczkę, ale dziś szary on i ubożuchny, a turniej poznański rozproszy mnóstwo blasków fałszywych, któremi dekoratorzy narodowi opromienili dzielnicę naszą.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Uniwersytety ludowe. O nowej rzeczy dowiedział się Wiedeń od panny Friberg, Dunki, która wykształcona w Anglii, poświęciła się propagandzie oświaty ludu. Miała ona wykład o uniwersytetach ludowych. Zdaje się, że te pojęcia nawzajem się wyłączają, a przecież się godzą. Jest to inna forma angielskiej „university extension.“ Duńskie uniwersytety ludowe obchodzą właśnie jubileusz 50 lat istnienia i rozwoju. Jest ich tam w małej Danii 70, roczna frekwencya 120.000 słuchaczów, co dwudziesty mieszkaniec do nich uczęszcza. Zaprowadzono je także w Norwegii, Szwecyi i Finlandii. Są to zakłady we własnych domach; sale wykładowe, gimnastyczne, jadalnie; uczniowie są w internacie pod dozorem; kurs trwa 6 miesięcy. Codziennie 5 godzin wykładów, przeplatanych ćwiczeniami cielesnemi. Główne przedmioty są: język ojczysty, konstytucya, ekonomia, statystyka, fizyka, chemia, astronomia, matematyka, hygiena, śpiew; są i godziny powtarzania, co tydzień wieczory dyskusyjne. Uczniami są chłopi, rękodzielnicy, urzędnicy; kupcy bogaci tworzą dla nich stypendya, bogatsi płacą za biednych, kurs kosztuje bowiem 40 fr., osobno mieszkanie i utrzymanie. Przeważnie zatem rządy i bogaci ludzie pokrywają koszta nauczycieli i uczniów. Nauczyciele pobierają 2000 do 4000 franków. Wpływ tych zakładów jest podobno niezmiernie doniosły pod względem społecznym i intellektualnym.

* *

Pani Marya Szeliga-Loewy ponownie w tych dniach przemawiała w Paryżu publicznie w kwestyi równouprawnienia kobiet, zbijając argumenty i wywody: Proudhona i Ledraina, którzy — jak wiadomo — wojowali lub wojują obecnie za przyrodzoną niższością kobiet od mężczyzn. Odczyt naszej powieściopisarki wygłoszony był w merostwie dziewiątego okręgu, przy ulicy Drouot, wobec licznie zebranej publiczności, złożonej przeważnie z mężczyzn. Prezydujący na tem zgromadzeniu Dr. Manouvrier, profesor szkoły antropologicznej, znany z polemiki, jaką prowadził z teoryami Lombrosa, oświadczył głośno, że przyłącza się w zupełności do programu emancypacyi, nakreślonego przez panią Szeligę.

* * *

Z dniem 1 kwietnia wychodzić zaczął w Krakowie Przegląd Krakowski, dwutygodnik polityczny, społeczny i ekonomiczny. Przy drugim numerze, który się ukazał d. 15 z. m. naczelne kierownictwo tego nowego organu objął p. Ludwik z Dobczyc Turnau.

* *

Aleksander Kraushar, który — jak to donosiliśmy — otrzymał jedną z nagród imienia Mianowskiego za dzieło o Arciszewskim, zadawalając się samym faktem zaszczytnego odznaczenia swej pracy, przeznaczoną mu kwotę zwrócił fundacyi.

* * *

Jan Zacharyasiewicz. — „Orion i Chryzantema czyli romans w XX wieku.“ — Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1895.

Cięta to satyra, dysząca dowcipem, napisana z młodzieńczą werwą, wobec której nieprawdopodobną wydaje się wiadomość, obiegająca dzienniki polskie, że autor „Oriona i Chryzantemy“ obchodzić będzie w r. b. czterdziestoletnią rocznicę swojej działalności literackiej. Czytając te kartki, kreślone wytwornie, naznaczone niemal na każdym rogu piętnem bystrości obserwacyjnej i świeżym humorem, można mieć niepłonną nadzieję, że utalentowany i zasłużony pisarz doczeka jeszcze dyamentowych z piśmiennictwem naszem zaślubin.

* *

Laskowski Kaz. Szkice i typy. Parcelacya. Dziadzio. Judka Grafolog. Jamnik z Poborowa. Ruchla Tiulik. Warszawa, 1894, in 8o, str. 232.

Są to obrazki z życia wiejskiego i małomiasteczkowego. Pierwszy, najobszerniejszy, jest zarazem najlepszym, choć napisany zbyt blado i rozwlekle. Dziadzio jest żołnierzem napoleońskim, bałwochwalczo czczącym pamięć „bożka wojny,“ W Jamniku autor skreślił życie grabarza wiejskiego oraz jego rozpacz po stracie wnuczki. Dwa ostatnie obrazki przedsta-

wiają sceny z życia żydów małomiasteczkowych. Autor niezbyt udatnie naśladuje Klemensa Junoszę.

* * *

Podzięka Szlązaków. Od „Macierzy Szkolnej“ dla Księztwa Cieszyńskiego „otrzymało lwowskie „Koło Literacko-Artystyczne“ pismo z datą dnia 18 z. m. opiewające jak następuje:

Doprowadzone do skutku przez Szanowne Koło wydawnictwo „dla Szlązka“, z którego dochód przeznaczono na powiększenie funduszów gimnazyum polskiego w Cieszynie, sprawiło nam radość niewymowną, bo stwierdza niezbicie, że społeczeństwo przejęło się do głębi sprawą odrodzenia kresów zachodnich i wyrwania ich ze szponów germanizacyi i że ani na chwilę nie ustaje w popieraniu zadań Macierzy Szkolnej dla księstwa Cieszyńskiego.

Szanowne Koło czynem tym złożyło wobec społeczeństwa zaszczyt przynoszące świadectwo, jak wielce obywatelskim duchem jest ożywione, i pouczyło wszystkich, jakim sposobem należy w głębi serca pielęgnowane ideały ucieleśniać, aby one zaważyć mogły na szali zbiorowych usiłowań celem odrodzenia naszej ukochanej Ojczyzny. Dla tego też Zarząd Macierzy Szkolnej dla księstwa Cieszyńskiego poczytuje sobie za miły obowiązek przesłać Szanownemu Kołu wyrazy gorącej wdzięczności, szczerego uznania i czci głębokiej za to piękne dzieło, które zapewne zasili bardzo poważnie fundusze naszego Towarzystwa. Obecne i przyszłe pokolenia Polaków cieszyńskich błogosławić będą tych wszystkich, którzy się na tę ofiarną a zbiorową pracę złożyli. Nie mogąc z osobna każdemu z nich dziękować, prosimy uprzejmie Szanowny Zarząd Koła oświadczyć to i być tłomaczem uczuć naszych wobec wszystkich, a przedewszystkiem wobec Zakładu im. Ossolińskich za druk piękny a bezinteresownie wykonany, wobec autorów za nadesłane prace, tchnące gorącym patryotyzmem, oraz wobec tych wszystkich, którzy jakikolwiek udział w tem mieli. Oprócz materyalnej korzyści, jaką gimnazyum z przedsięwzięcia tego mieć będzie, wiązanka tych prac literackich stanowić będzie wdzięczną ozdobę wszelkich bibliotek i czytelni naszych i niejedną chwilę przyjemną czytającym przysporzy. Oby zacny czyn Szanownego Koła licznych mógł znaleźć naśladowców!

Ks. Józef Londzin, sekretarz. Ks. Ignacy Świeży, prezes.

* * *

Najświeższy numer (Nr. 9) krakowskiego dwutygodnika „Świat“ zaleca się tak pod względem illustracyi jak treści literackiej. Z rycin wyszczególniamy tylko ładny drzeworyt tytułowy Romana Kochanowskiego p. t. „Maj“, reprodukcyę obrazu Wywiórskiego p. t. „Powrót z polowania na Łosie“, oraz illustracye do „Hardych dusz“ Z. Sarneckiego. Z działu literackiego zasługuje na wyróżnienie praca Rawity p. t. „Rodzina Hurków“, nowella Krechowieckiego „Sen Kasztelana“ i studyum o esoteryźmie p. Maryana Zdziechowskiego.

* * *

„Bez pana“ powieść historyczna z XI wieku przez Sta... Praca konkursowa polecona przez Towarzystwo czytelni ludowych. Poznań 1895 r.

Powieść ta, która w ostatnich tygodniach zbogaciła katalogi czytelni ludowych nie jest bez wątpienia arcydziełem, ale może być dla nich istotnie pożytecznym nabytkiem. Odnosi się ona do czasów bezkrólewia poprzedzającego przybycie Kazimierza Odnowiciela i mniej więcej zgodnie z prawdą historyczną maluje ówczesne położenie kraju. — Naturalnie ta zgodność z historyą polega głównie na poszanowaniu ogólnie znanych faktów, — gdyż co do ścisłego zachowania kolorytu epoki, jeśli chodzi o tak odległe czasy, nie można zbyt wysokich stawiać wymagań. Nawet najcenniejsze dziełka w tym rodzaju, taka „Stara Baśń“ Kraszewskiego naprzykład, tylko dzięki wyobraźni i talentowi autora mogą wywoływać w czytelniku złudzenie prawdy, nigdy jednak nie dają pewności czy kraj, stosunki, obyczaje, pojęcia i uczucia ludzkie zostały wiernie odtworzone. W powieści „Bez Pana“ razić może cokolwiek czytelników wykształceńszych nastrój zbyt romantycznie rycerski, zabarwiony sentymentalizmem średniowiecznym, który kwitnął może na dworze prowensalskim, albo w pieśniach „minnesingerów“, którego śladów jednak nawet trudno przypuszczać w ówczesnej Polsce, jeszcze barbarzyńskiej i nawpół pogańskiej. — Jest również rzeczą więcej niż wątpliwą, czy istniała wówczas ta klasa rycerzy — rólników, wśród której główne wypadki powieści się odgrywają. — Wiadomo, iż za czasów Chrobrego ziemia uprawiana przez kmieci była własnością króla, rycerstwo stanowiło klasę odrębną i dopiero z czasem, za usługi wojenne wynagradzane przez książąt ziemią, wytworzyło stan szlachecki, wyłącznym przywilejem obrony kraju i posiadania własności ziemskiej obdarzony. Prócz tego zarzuciłby można autorowi — a raczej autorce, że jak na powieść historyczną zbyt wiele miejsca przeznaczono na opisy piękności i stroju bohaterek; prywatne sprawy i osobiste uczucia usuwają na zbyt odległy plan wypadki krajowe donioślejszego znaczenia i działalność publiczną bohaterów, którzy przecież ważniejszą w społeczeństwie odgrywali rolę niż piękne a cnotliwe Bożeny oraz zalotne Dobrogniewy. —

Mimo to powieść „Bez pana“ zaszczytnie wyróżnia się z pomiędzy znacznej większości powieści dla ludu, jest zajmującą, będzie niewątpliwie poczytną, a czytelnikom, dla których jest przeznaczoną przynieść może istotnie umysłowy pożytek. Dodać należy, że tendencya jej moralna i zdrowa, że treść zajmująca nie razi nigdzie nieprawdopodobieństwem i nie przypomina zwykłych w tym dziale piśmiennictwa bajek o skrzydlatych rycerzach i zamorskich księżniczkach. — Język gładki i poprawny, miejscami nawet kwiecisty i poetyczny również na pochwalną zasługuje wzmiankę.

* * *

T. J. Gałęzowska. — „Błysk słońca“. Powieść dla młodzieży. W 8°, str. 271. Nakładem Zwolińskiego i Spółki w Krakowie. 1895 r.

(*wys.*) Zaszczytnie znana autorka powieści dla młodzieży przenosi nas ostatnim swym utworem w czasy, kiedy Napoleon I po trupach tysięcy ofiar, po gruzach kilkunastu państw i państewek Europy szedł do francuskiego tronu — w czasy, kiedy całe masy synów zgnębionej rozbiorami ojczyzny naszej, szło z tej „krainy mogił i krzyżów“ pod sztandary francuskie w nadziei, że ten uwielbiany przez wszystkie ówczesne młode umysły bohater w zamian za krew ich i trudy dlań poniesione zrobi coś dla Polski. Wylewając krew swą szli dla niego przez Apeniny, Pyreneje, Alpy, szli i tam, gdzie pieprz rośnie, by ginąć od strzał zatrutych i żółtej febry i tam, gdzie ginąć mieli od spis kozackich i mrozu. Nadzieje zawiodły — wielki Francuz nie dał Polsce nic prócz obietnic, a kiedy zaczęło się zdawać, że zamierza coś zrobić dla polskiego narodu, gwiazda jego poczęła blednąć... aż zgasła i Polakom, uczestniczącym w jego podbojach nie pozostało nic prócz ran w ciele i żalu w duszy. Powieść o patryotycznym nastroju, illustrowana bardzo ładnie, wydana bardzo starannie zaleca się czystym, gładkim językiem i zaszczyt przynosi księgarni, która ją wydała.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne Dzienniki berlińskie donoszą, że połowa Centrum za projektem „przewrotowym“ głosować nie będzie. — Prowincyonalny komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie zamianował w porozumieniu z delegatami na kandydata do sejmu pruskiego z okręgu gostyńsko-leszczyńsko-rawicko-wschowskiego, p. Maksymiljana Pokrzywnickiego z Poznania. — Położenie Hiszpanów na wyspie Kubie pogarsza się z dniem każdym. Powstańcy w wojnie podjazdowej odnoszą znaczne korzyści. — Biuro Wolffa donosi, że Koło polskie według pogłosek obiegających w parlamencie postanowiło głosować przeciw projektowi przewrotowemu.

Teatr i muzyka Koncert Sokołów, urządzony 2. maja w Poznaniu na sali Lamberta, zgromadził nader liczną publiczność i wypadł znakomicie pod każdym względem. Scena więzienna z „Dziadów“, odegrana przez pp. Trapszę, Knapczyńskiego, Jakubowskiego, Rapackiego i Sosnowskiego wywarła na słuchaczach nader silne wrażenie, a mianowicie „Improwizacya“, wygłoszona przez ostatniego z wyżej wymienionych artystów, w prawdziwy zachwyt wprawiła publiczność. Również popisy gimnastyczne pod komendą druha Gładysza, produkcye orkiestrowe pod batutą druha Zaremby, śpiew p. Rapackiego, dyalog „Rozwiedziemy się“ (Trapszo i Knapczyński) oraz fraszka sceniczna „Sprzeczka“ (panna Zimajer i p. Sosnowski) zjednały sobie frenetyczne oklaski. Redaktor pisma naszego, prezes poznańskiego Sokoła, dr. Rabski zagaił koncert okolicznościowem przemówieniem. — Ernesto Rossi zamierza urządzić szereg gościnnych występów w Warszawie. — Teatr hr. Skarbka we Lwowie zaangażował p. Antoninę Hoffmannową i p. Edmunda Rygiera na szereg gościnnych występów. — Prowincyonalne towarzystwo operetkowe p. Myszkowskiego dawać będzie przedstawienia w maju, czerwcu i lipcu w letnim teatrze lwowskim. — Sztuka H. Rovetty p. t. Marco Spada wystawiona w teatrze krakowskim nie zjednała sobie ani krytyki, ani publiczności. — Warszawski „Teatr Rozmaitości“ wystawi niebawem „Księżnę Martę“ Wiktoryna Sardou. — Aleksander Dumas ukończył nową sztukę p. t. „La Troublante.“ — Marcelina Semorich-Kochańska rozpoczęła gościnne występy w teatrze Krolla w Berlinie. — Jak paryzki Temps donosi „Balladyna“ Juliusza Słowackiego ukazać się ma w Paryżu na scenie teatru „des Poetes“ w przekładzie Wacława Gasztowta i układzie scenicznym p Teneo. — Teatr hr. Skarbka zaangażował p. Modrzejewską na kilkanaście gościnnych występów.

Z listu, otrzymanego z Rzymu przez wiedeńskiego korespondenta „Kuryera Warszawskiego“, wyjmujemy co następuje: „Odwiedziny u Siemiradzkiego; willa bardzo ładna na cichej ulicy wśród ogrodów, wcale nie odległa od środka miasta. Siemiradzki mimo przebytej influenzy, wygląda dobrze; gdyby nie mała bródka posiwiała, wygląda tak samo, jak przed 15stu laty, kiedy ofiarował w Krakowie do Muzeum „Pochodnie Nerona“. Ten spokój i jasność, które widnieją z jego obrazów, malują się na jego obliczu. Pracownia jasna, obszerna, bogata, bez sztucznych efektów, ściany pokryte cennemi dywanami, makatami; meble stylowe, rzeźbione; w witrynach prześliczne rzeczy. Przed paru dniami wysłał Siemiradzki skończone wielkie obrazy, więc w pracowni są tylko rozpoczęte. Jeden, szkic do większego obrazu, to „Chrystus błogosławiący dziatki“. Przepyszny to szkic; nieporównana słodycz w postaci Chrystusa, który trzyma dziecię na kolanach, a drugą rękę podnosi, błogosławiąc. Z jednej strony apostołowie, wzbraniający przystępu, obok grupa kobiet z dziećmi. Prześliczna jest kobieta klęcząca przy Chrystusie i druga z amforą, bo scena odbywa się przy fontannie Drugi obraz, także jeszcze nie wykończony: scena z życia greckiego, uroczystość wieńczenia grobów, święto róż. Ten sam błękit nieba, ten spokój, ta jasność i przejrzystość przestrzeni, którą znamy w obrazach Siemiradzkiego. Trzeci obraz, epizod z czasów najścia barbarzyńców, widać willę, a obok grupę najeźdźców szukających zdobyczy“.

Hrabina Gizela von Strindberg wydała broszurę pod tytułem „Kobiety niemieckie i kult Bismarka“. Protestuje w niej zawzięcie przeciwko hołdom, składanym przez osoby jej płci żelaznemu kanclerzowi, nie dlatego, że był żelaznym, lecz że listy jego, odezwania i tysiące drobnych szczegółów życia dowodzą, iż nie żywił należnego dla kobiet poszanowania. Podczas długiego okresu swej wszechwładzy nic nie uczynił dla podniesienia stanowiska kobiety. Z tych względów hrabina Strindberg, jako zagorzała feministka, nie łączy się do chóru uwielbień dla Bismarka, jakkolwiek uznaje jego zasługi, położone dla Niemiec. Inne feministki podzielają najzupełniej jej poglądy.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. K. Wiersz jest miejscami bardzo zręczny, ale całość psuje kilka fałszywych obrazów i nadto widoczne reminiscencye z Kochanowskiego.

S. S. „Jehowa“ zdradza znamiona silnego talentu, lubo sam pomysł nie jest nowy. Zamieścić chwilowo nie możemy dla nadmiaru innego materyału.

Niezapominajka z Wrzesińskiego. Godzimy się najzupełniej na poglądy Pani, ale miernot tego rodzaju jak „Aniołku czekamy“ pojawia się tyle w pismach poznańskich, że już niemal dziwić się przestajemy i czasu nie staje na charakterystykę tandety, którą poważne organy karmią publiczność. Za pamięć o nas dziękujemy serdecznie.

Przyjaciółka Sokołów. Za uznanie dziękujemy w im. Sokołów. Myśli poruszonej przez panią udzielimy chętnie gościnności w łamach Przeglądu. O bliższych szczegółach poinformuje Panią redakcya „Kuryera Lwowskiego“ (Chorążczyzna Nr. 5).

Excelsior. W uzupełnieniu informacyi, podanej w przeszłym numerze, donosimy, że autorem t. zw. Arbeitermarseilleuse jest Jakób Audorf, ślusarz hamburgski. Po raz pierwszy piosenkę tę odśpiewano na pogrzebie Lassale'a

Sprostowanie.

Do poprzedniego numeru wkradły się następujące omyłki: 1) Pod nagłówkiem artykułu „John Murray u Bismarcka“ czytać należy zamiast „Eastem Herald“ — „Eastern Herald“. 2) W rubryce „Teatr i muzyka“ zamiast „Marco Praga“ — „Marco Spada“. 3) W „Listach z Berlina“ zamiast „w nastroju panteistyczno komicznym“ — „w nastroju panteistyczno kosmicznym“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 19. Poznań, Niedziela 12go maja 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2.25). w innych krajach europejskich i w Ameryce 4.00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Gaszenie ognia.

Prawo rzutu i prawo oporu zajmują w socyologii jedno z miejsc naczelnych. Jest to owa akcya i wywołana przez nią reakcya pierwszej, zależne jedna od drugiej, o treści zasadniczo różnej i zawsze rozbieżnem dążeniu. Ustawa przewrotowa jest tak silnym pociskiem, że niema tarczy dość obronnej, aby się przed nim zasłonić. Wywołać ona musiała i wywołała istotnie dawno nie widziany ruch umysłowy.

Przedstawiciele nauki, którym szermierki polemiczne politycznych stronnictw wydawały się niekiedy marną stratą czasu, poczuli się nagle zagrożeni w swem prawie zasadniczem swobodnego badania i bezwzględnego wypowiadania prawd zdobytych. Literaci, poeci, artyści, chętnie przebywający na Parnasie, skąd wzgardliwie spoglądali na hałaśliwy ruch demokratyczny, zlękli się damoklesowego miecza, który zawisnąć może nad kazdem żywem uczuciem i każdą myślą śmiałą i szlachetną. Arystokraci umysłowi wszelkiego rodzaju, którzy chętnie byliby tłumy ludu odsądzili od prawa krytyki i obezwładnili wszechwładną opinię, poczuli, że przywileje ich zagrożone są już nie przez demokratyzacyą wiedzy, lecz przez zwykły policyjny knebel. Mieszczaństwo i burżuazya, chmurnie spoglądające na emancypacyjne dążności mas ludowych, zrozumiały, że ustawa występować będzie już nie w ich obronie, ale przeciwko nim, przeciwko swobodzie słowa, ruchu, inicyatywy, wreszcie krytyki i szyderstwa, na które pozwalać sobie było można, ile razy tylko zasadniczych interesów kieszeni nie naruszały. Konserwatyści: podpora i duchowi inicyatorowie ograniczeń, które wstrzymać miały wartki prąd współczesnego ruchu umysłowego, — spostrzegli wreszcie, że ostrzą miecz obosieczny, który i przeciw nim obrócić się może. A i Polacy, a raczej polscy posłowie po niejakiem wahaniu zmiarkowali, że dobrowolnie iść w jarzmo, zabraniają im elementarne zasady narodowe i instynkt samozachowczy. Słowem, gdyby nie centrum, rząd stałby dziś zupełnie osamotniony wśród nietajonej niechęci wszystkich warstw społecznych. Podnosiłby kołczan ze strzałami przeznaczonemi w pierwszym rzędzie ku okiełznaniu dążności demokracyi społecznej, lękając się je wypuścić. Demokracya zaś owa, założywszy ręce rozgląda się dokoła, jak jej wrogowie z obozów wszelkich miotają się rozpaczliwie, w obawie, że ciosy wymierzone dotkną już nietylko „partyą przewrotu“, ale sam rdzeń umysłowego życia, wszelki odruch nawet niezawisłej ludzkiej osobistości. Demokracya protestować nie potrzebuje, bo samo jej istnienie jest tu protestem.

Tak więc, choć z prawdopodobieństwem twierdzić można, że ustawa przewrotowa odrzuconą będzie, jest ona smutnym przejawem reakcyi. Przyniosła jednak już wielką korzyść, przywołując na pamięć społeczeństwu niemieckiemu, gdzie są najistotniejsze jego dobra i skąd właściwie grozić by mogło prawdziwe niebezpieczeństwo kulturze dzisiejszej. Wśród tej zgody, która zapanowała w obec zbliżającej się przewagi pikielhauby, mało przecież jest uznania, że wyższość naszych czasów nad innemi, to właśnie owa demokratyzacya wiedzy i myśli, demokratyzacya, której ostatecznym wynikiem być musi uświadomienie masy wśród której każdy, poczuwszy się człowiekiem, żądać będzie ludzkiej egzystencyi i poszanowania własnej godności.

Nie zdaje się to być równie jasnem współczesnym „protestantom“, co podnoszą tarcze dla odparowania ciosu, jak było jasnem myślicielom różnego kierunku, którzy przemawiali w naszem stuleciu. Bardzo ciekawą wiązankę ich poglądów zebrał profesor uniwersytetu w Zurichu J. Platter,*) wiązankę, z której przytoczę tu najwięcej przekonywające sentencye, probując je odpowiednio oświetlić.

A więc przedewszystkiem życie społeczne nie jest to życie jednostek. „Faktem społecznym, powiada *Gumplowicz*, nazwiemy taki, który stworzyły nie jednostki lecz grupy, powstać zaś może tylko przy działaniu dwóch przynajmniej grup odrębnych“.

Zasadą bytu społecznego byłoby przeto powstawanie, swobodny rozwój partyi politycznych, wyodrębnianie się grup społecznych, ich walka, a nie niwelacya i tłumienie życia!

Żyjemy w czasach panowania demokracyi, oświadczył Macaulay, zapowiadając w 1857 roku w liście do pewnego amerykanina wszystkie konsekwencye dzisiajszego rozwoju społecznego, wraz z podziałem społeczeństwa na klasy z ich walką i nienawiścią nieuniknioną na obu półkulach. W walce tej na powierzchni rozlegać się będą burze polityczne, a w głębiach nurtować głucha ekonomiczna walka. Tak było w angielskim ruchu *chartystów*, który żądał demokratycznej podstawy dla izby niższej, a był walką ekonomiczną proletaryatu. Wyraźnie wypowiedział to pastor *Stevens* przed zgromadzeniem 200,000 ludzi.

„*Chartyzm*, moi przyjaciele, to nie kwestya polityczna, to kwestya żołądka. *Charta*, to znaczy dobre mieszkanie, dobre jedzenie i posilny napój, utrzymanie odpowiednie i krótki czas pracy.“

Konieczność demokratyzacyi społeczeństwa w postaci równiejszego podziału praw i dostatków uznaje także anglik *Graham Summer*:

„Prawdziwe niebezpieczeństwo, jakie zagraża demokratycznemu państwu, polega na tem, że klasy posiadające zabierają dla siebie prawa, odrzucając wszystkie obowiązki“.

Ale przyjmując walkę między klasami i niebezpieczeństwo, jakie z niej wyniknąć może, *Gilon* (Walka o dobrobyt) ostrzega przed nadużyciem siły i uciskiem.

„Uciskać buntowników i siłą dusić rewolucyjne dążności to nie dość, aby rozstrzygnąć kwestyą społeczną. Przeciwnie: ujarzmieni mieć będą tylko jedną dążność: przygotować ostrzejszą broń, którą zapewnią sobie zwycięztwo, gdy przyjdzie na nich kolej.“

A nawet *Stepniak* zdecydowany zwolennik teroryzmu ruskich nihilistów przyznaje, że

„o ile naród posiada zasadnicze prawa polityczne, życie rozwijać się może prawidłowo i spokojnie.“

Kautsky zaś, teoretyk niemieckiej demokracyi społecznej, powiada, że prawodawstwo ludowe „doprowadziłoby do zupełnego rozkładu partyi“.

I z dziejów rzymskich, i to sięgających aż do konstytucyi Serwiusa Tulliusa wyprowadzić można argumenty wprost pobijające ustawę przewrotową, bo oto co powiada znakomity znawca stosunków społeczeństw pierwotnych i pierwszego okresu starożytnych *H. Morgan:*

„W oświetleniu, jakie rzuciły doświadczenia dzielących nas od owego okresu dwóch tysięcy lat, doszliśmy do wniosku, że nierówność przywilejów i zaprzeczenie praw do samorządu stworzyły owe olbrzymie zepsucie, które zmiażdżyło wreszcie państwo i lud. Rodzaj ludzki przekonywa się powoli, choć to prawda tak prosta, że lud lepiej potrafi bronić dobrobytu publicznego, niż jakaś uprzywilejowana klasa ludności“. Wreszcie Jan Jacoby występuje za swobodą myśli i ruchu:

„Wolność jest pożądanym celem zarówno dla pojedyńczego obywatela, jak i dla całych narodów. Państwo i narodowość są tylko środkami wiodącemi do celu i jako takie mają znaczenie. Swoboda umysłowa i polityczna są jedynie wiarogodnym miernikiem dla oceny życzeń, żądań i dążności narodu“.

Nietylko więc swobody myśli, ale możności nieograniczonego rozwoju politycznych partyi, demokratyzacyi społeczeństwa, rozpowszechnie-

*) „Freie Bühne“ zeszyt kwietniowy.

nia wiedzy, wreszcie praw człowieka i obywatela dla każdego, niezależnie od obozu, do któregoby należał, żądają najlepsze umysły naszego stulecia.

Czy zaprzeczymy prawdzie ich słów, żądając ograniczenia swobody stronnictw, które z istniejącym porządkiem pogodzić się nie chcą i nie mogą? A jednak taki wniosek wyprowadzić można z ogólnego nastroju opinii, który tak jasno wyraził się w protestach przeciwko ustawie. Masy, i to nie robotnicze, lecz tworzące inne stronnictwa powstały przeciw ustawie przewrotowej, ale wśród mas tych znaczna część oklasnęłaby prawo, zwracające się tylko ku zbyt śmiałym demokratycznym zakusom. Tymczasem wszystkie swobody naszego stulecia, całe owe wartkie życie umysłowe, którem tak słusznie pyszni się wiek nasz, są wynikiem szerokiego prądu demokratycznego, owej fali ludowej, która zrywając wszystkie łamy domaga się dla siebie swobody zupełnej, praw ludzkich, oświaty i dobrobytu.

Dr. Z. D.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„Dziennik Kujawski“ (Nr. 99) wypowiada takie opinie w sprawie „otwartego listu“ dr. Krzymińskiego:

„O wystąpieniu kujawskiego posła można mówić wiele; jeden ma zdanie takie, drugi sądzi inaczej, jedni chwalą, drudzy ganią. Przeciwko temu nic mieć nie można, albowiem kto występuje publicznie, ten z góry winien być przygotowany na różne sądy. Chodzi tylko o to, aby krytyka nie przekraczała granic umiarkowania.

Ponieważ w tym przedmiocie wypowiedziano poglądów obfitość, przeto odstępujemy z naszej strony od bliższego rozbioru pomienionego „listu“, to jednak uważamy za stosowne podnieść, że żądanie posła, aby postanowień Koła nie osłaniała gruba tajemnica, jest zdaniem naszem słuszne.

Niesmaczną, wprost wstrętną w całej „listem otwartym“ wywołanej wrzawie była uwaga, że poseł p. dr. Krzymiński zawdzięcza swój mandat pewnej jednosce — co robi wrażenie, jakoby społeczeństwo nasze podlegało zakulisowym rozkazom jakiegoś samozwańczego dyktatora.

Przeciwko jakimkolwiek zachciankom samowładczym należy nam się zastrzedz. Posłów obierają sobie i wybierają powiaty. W tym punkcie jest naród wolny i nigdy nie zgodzi się na to, aby mu jakakolwiek szara gęś posłów narzucała.“

„Gazeta Opolska“ pisze w Nr. 35.

„Jednym z najważniejszych obowiązków gazet polskich jest, aby pisały w duchu narodowym. Są jednak tacy, którzy do gazet polskich na Śląsku stawiają dziwne wymagania, a mianowicie życzyliby sobie stanowczo, iżby te gazety w odmiennym kierunku były redagowane, niż gazety polskie w innych dzielnicach, mianowicie w tych, które aż do ostatnich podziałów ziemi polskiej należały do Polski. Tym, którzy takie wymagania stawiają, chodzi głównie o to, aby duch polski na Śląsku nie przebudzał się, lecz usypiał i zamierał, jak to przed nie tak dawnym czasem jeszcze miało miejsce.

Pytamy wobec tego: Cóżby za korzyść wogóle przyniosły gazety polskie, gdyby tylko drukowane być miały po polsku, a nie starały się budzić ducha polskiego pomiędzy Czytelnikami i zagrzewać do umiłowania narodowości polskiej? Byłyby chyba jako miedź brząkająca lub cymbał brzmiący, których echo ginie bez korzyści. Smutnym dowodem na to, że gdzie nie ma ducha narodowego tam też i gazeta polska utrzymać się nie może, są mieszkający w Prusach Wschodnich Mazurzy. Przez 50 lat pracował na Mazurach zmarły niedawno Gerss dla ludu polskiego w ten sposób, jak dzisiaj niby chcą pracować ci. którzy wprawdzie krzyczą. że chcą bronić języka ojczystego, ale którzy o narodowości polskiej i o narodzie polskim jako jednej wielkiej całości radziby nic nie słyszeli. Gerss choć po polsku drukował swe gazetki i książki dla Mazurów, ale wszędzie chwalił pruskie czasy; „starego Frytza“ po prostu ubóstwiał, a Mazurów uważał za nie Polaków, ale za odrębny szczep, tak jak u nas chcą mieć nie Polaków, ale Ślązaków po polsku mówiących. I cóż się stało? Nie było i nie ma ducha polskiego pomiędzy Mazurami „Gazeta Lecka“ wydawana przez Gerssa mało miała czytelników, a dziś, po 50ciu latach wcale upadła. Dziś, gdzie Polacy w Berlinie, a nawet w Westfalii mają swe pisma polskie, dziś nie ma go przeszło trzysta tysięcy Mazurów w Prusach Wschodnich. A cóż tego powodem? Oto brak ducha narodowego, z czego płynie zobojętnienie dla własnego języka i narodowości.“

„Gazeta Grudziądzka“ (Nr. 54) zamieszcza następujące uwagi „o ruchu narodowym na Litwie pruskiej“:

„Żyjemy w czasach, w których się każdy lud więcej niż kiedykolwiek dopomina o swoje prawa narodowe. Ruchu tego nie zgniecie nawet najcięższe prześladowanie. Podczas, gdy pod zaborem rosyjskim pomimo knuta i więzienia, wierni są religii i narodowości, nasi to Litwini, których 150,000 żyje w okolicy Wystrucia (Insterburg), Kłajpedy (Memel) i historycznej Tylży zaniedbali swą narodowość i język. Niedawno dopiero i to w czasie, kiedy Niemcy rozpoczęli walkę przeciwnarodowościową, zbudziła się u Litwinów świadomość swej narodowości i praw Odezwali się o przysłanie im nauczycieli, władających językiem litewskim i upomnieli się dla Litwinów o stypendya ustanowione dla nich. Takich stypendyi po 100 talarów dla gimnazyum tylżyckiego jest 12, a dla królewieckiego 6 po 200 talarów. Większa ich część zamiast Litwinom dostaje się Niemcom! Tak samo się dzieje ze stypendyami polskiemi. lecz Polacy się nie dopominają, podczas gdy Litwini zamierzają wnieść protest przeciw zabraniu pieniędzy na ręce ministra oświaty Oby się poszczęściło Litwinom w tym ruchu narodowym, oby i bracia Mazurzy, chociaż się różnią wyznaniem, poczuli w żyłach swoich krew polską i nie pozwolili się germanizować dobrowolnie!“

Z powodu politycznej działalności duchowieństwa naszego w duchu „partyi dworskiej“ piszą do „Orędownika“ z Mogilna w Nr. 104.:

„Księża w wielu parafiach ciągle agitują przy każdej sposobności, robią wymówki, straszą: powstaje niepokój w rodzinach, obywatelstwie, jak gdyby księża byli do polityki a nie do Kościoła. W niektórych parafiach z partyi dworskiej i ludowej wyrobiła się partya z księdzem i przeciw księdzu. Księża tacy nie utrzymają ludu w polityce, a stosunki kościelne tracą na tem. Co gazety o tem piszą, to nic; trzeba być i żyć w takiej parafii, żeby widzieć, jak to ciągle wrze w ludzie, a to nie ustanie póty, dopóki proboszczowie i wikaryusze nie zaprzestaną niepokoić ludzi dla partyi dworskiej.“

W tym samym duchu odzywa się bydgoski korespondent „Orędownika“ w Nr. 100. Z długiej korespondencyi cytujemy końcowy ustęp:

„Przykrą rzeczą w Bydgoszczy jest stosunek duchowieństwa do tej ludności polskiej, na której się tam przyszłość narodowa opiera. Poszanowanie dla księży jest tu wielkie, ogólne i szczere; fara w Niedzielę jest tak nabita, że na kazanie podczas wielkiego nabożeństwa nie można się dosłownie dostać; mnóztwo ludzi stoi przy wieży i na cmentarzu, a nie rzadko się zdarza, że z kościoła wynoszą zemdlałe w natłoku panie, jakem na to patrzał zeszłej niedzieli. Księża bardzo nawet pracują dla klasy robotników, tylko nie widać naszych księży na zebraniach i zabawach tych towarzystw, na czele których stoją przywódzcy ruchu narodowego i ludowego. Komu to zawdzięczamy, wiemy wszyscy. Ale nie trzeba tracić nadziei; zwolna różnice te będą się zacierały, a wtedy może się i te stosunki naprawią, czego pragnąć należy“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Głowny organ czeskiej „Omladiny“ „Radikalní Listy“ występują z artykułem zatytułowanym: „Za svobodu politiskeho i socyalniho przesviedczeni (przekonania)“, krytykując stronniczość sądów austryackich:

„Niezawisłość sędziego i najobjektywniejsze wymierzanie sprawiedliwości stanowią podstawy, na których spoczywa pewność żywota społecznego w państwie konstytucyjnem.

„Jest rzeczą znaną, że sprawiedliwość jest pojęciem relatywnem, każda warstwa społeczna widzi w niej coś odmiennego, widzi własne poglądy, całą materyalną i duchową atmosferę. Dziś jest tak, że przeszłe czasy i ludzie zmarli, którzy prawa dawniejsze, dziś obowiązujące, ustanowili, rządzą i sądzą żyjących. Ponieważ najwznioślejsze zmiany zaszły w stosunku proletaryatu do klas wyższych, przeto klasy niższe więcej aniżeli inne bywają narażane na niebezpieczeństwo przekroczenia ustaw. O tem powinni sędziowie nasi wiedzieć, aby potrafili sprawiedliwość wymierzać i aby pojmowali ży-

---

Władysław Rabski.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(Ciąg dalszy).

WARECKI

Co prawda, to syn mój ma słuszność. Zdaje mi się, mój Michale. że nadeszła chwila pokwitowania rachunku. Ja cię od żebraniny uratowałem.

RUSZCZEWSKI.

Tak... tak... jeżeli chcecie, to wezmę kosztur i pójdę.

WARECKI (*śmiejąc się*).

Tanio chcesz płacić rachunki swoje. Chociaż dom mój opuścisz, to dług twój długiem zostanie. O kiju wyszedłeś z własnego majątku. Brat twój rodzony, skąpiec i samolub odmówił ci gościny, a gdy wynędzniały do drzwi naszych zapukałeś, ja cię nie odepchnąłem. Przygarnąłem, lat 15 żywiłem, ocaliłem może od hańby i występku, bo głód jest niebezpiecznym doradzcą.

RUSZCZEWSKI (*obejmuje głowę rękami*).

A! miejcie litość nademną!

WARECKI.

A ty, czy masz litość nad nami? Chcesz nas zarżnąć.

KAROL.

Pragniesz ruiny mojej. Jeżeli ta przeklęta prasa palnie mi kazanie, to Wisłowski górą, a teść niedoszły figę mi pokaże.

WARECKI.

Zresztą wiesz dobrze, jak wysokie urzędy obywatelskie ja sam piastuję i *pro honore domus* stracić ich nie mogę. Wareccy są filarami szlachty, zagrożonej w swych przywilejach, a każdy cios, który w nas uderzy, na całym stanie odbić się musi. Tobie, cichemu człowiekowi, którego zaledwie najbliżsi znają, społeczeństwo wybaczy grzechy, — nam Wareckim nigdy. A imię Wareckich musi zostać czyste. Rozumiesz?

RUSZCZEWSKI.

Zabij mnie. Za wiele żądacie.

WARECKI.

Za wiele? Mam prawo żądać od ciebie drobnego poświęcenia, bo wydobyłem cię z błota, chleb ci dałem i przytułek.

KAROL.

Skończmy ojcze tę scenę. Honoru Ruszczewskich mierzyć nie można Wareckich miarą.

RUSZCZEWSKI (*siada złamany na fotelu i śmieje się boleśnie*).

Honoru... honoru?!

WARECKI (*z gniewem wzrastającym*).

Ty mało tracisz, my wszystko. Prezentuję ci rachunek z długiego lat szeregu i mówię: Zapłać! Jeżeli nie usłuchasz, jeżeli Wareccy runą przez ciebie, to w oczy ci plunę jak ostatniemu z nikczemnych. Słyszałeś? Wybieraj!

RUSZCZEWSKI (*wstaje i chwiejąc się postępuje ku Wareckiemu*).

Już nic nie mówcie... Dobrze... Rozkazujcie, w błoto wtrącćie... Tak, tak! Ja słuchać muszę... Rozumiecie? muszę.

WARECKI.

Dziękuję! To było uczciwe słowo (*chce go uściskać*).

RUSZCZEWSKI (*cofając się*).

Nie, nie! Bez uścisków! Płacę mój weksel i koniec.

(*wchodzi lokaj.*)

LOKAJ.

Pan Modliński przyjechał.

WARECKI.

Proś. (*Lokaj wychodzi, Warecki zwraca się do Ruszczewskiego*) Tylko spokojnie i do góry głowę. Pierwszy manewr teraz się rozegra. (*Wchodzi Modliński*).

Scena V.

Warecki, Karol, Ruszczewski i Modliński,

WARECKI.

Witam pana serdecznie pod strzechą naszą (*podaje rękę przybyłemu*).

cie społczesne jakiem jest, nie zaś trzymali się martwej litery prawa. Sądy powinny być niezawisłemi tak od policyi, jak też od nacisku zmieniających się co chwilę rządów. Stósunki dziś panujące w polityce są takie, że ludzie, których karano niedawno za przestępstwo, dziś uważani bywają za wybawców i pionierów myśli zdrowych.

„W państwie są klasy ludzi, których poglądy socyalno-polityczne między sobą się różnią. Państwo powinno przyznać racyą bytu tym poglądom, musi im pozostawić wolność, aby się mogły tak pojawiać, jak chcą. Tam gdzie rządy domagają się od sądów wymierzania kar przeciw ludziom innych poglądów socyalnych, dyskredytuje się pojęcie sprawiedliwości, gubi poczucie prawne, budzi gniew i nienawiść, wiodące do gwałtownych wybuchów.

Obecny proces, toczący się przeciw niezawisłym socyalistom, wskazuje, że nie karze się ludzi za uczynki, ale za przekonania i zasady. Ponieważ nie dostawało faktów, czytano listy, pieśni, rezolucye, a nawet zagraniczne broszury, aby przysięgli nabrali przekonania o nic bezpieczeństwie, jakie grozi społeczeństwu, choć obżałowani sami przyznawali się otwarcie, iż wyznają zasady niezawisłej demokracyi socyalnej i skrajnego indywidualizmu.

„Ruch ideowy i polityczny nie powinien być nigdy stawiany przed forum nauki, ostrej krytyki i analizy. Pozostawmy pole wolne, wolne przejście wszelkim wytworom doby dzisiejszej! Co jest dobrem i zdrowem utrzyma się i będzie zadatkiem nowego rozwoju indywiduum i społeczeństwa, bo nic tego rozwoju nie wstrzyma; co jest złem i sztucznem zginąć musi, a nic w świecie, żadna agitacya nie ochroni go przed wyrokiem śmierci, wydanym przez dobę nową i nowe stósunki.“

* * *

„Il Pensiero Slavo“ pisze o stosunku Polaków do Słowian:

„Wiemy wszyscy, że Polacy galicyjscy stoją odosobnieni w świecie słowiańskim. Są oni jedynym narodem słowiańskim, który nic nie chce wiedzieć o solidarności słowiańskiej (?). Nienawiść ku Rosyi przewyższa w Polakach każde inne uczucie. Przez dłuższy czas byli oni w parlamencie wiedeńskim sprzymierzeńcami Niemców w walce przeciw Słowianom, a do pewnego stopnia są nimi dziś jeszcze. Czemu? Bo inni Słowianie chcą zostać Słowianami. Jeżeli kilkakrotnie łączyli się z Słowianami przeciw Niemcom, to nie czynili tego z poczucia solidarności słowiańskiej, ale dla zasad autonomicznych, bo przy autonomii, jaką posiadają, mogą utrzymać się przy władzy nad Rusinami w Galicyi (??).

„Czy Polacy będą głosowali za utworzeniem gimnazyum słowiańskiego w Celji? Z początku odpowiadano twierdząco na to pytanie, później „Przegląd“ lwowski temu zaprzeczył, ale o tem u nas pisano, że pismo to jest organem nielicznej tylko koteryi Koła polskiego.

„Fakt ten zresztą nie ma znaczenia wielkiego, bo Polacy choć są z krwi i kości Słowianami, nie są nimi z uczynków i przekonań, ich polityka nie jest słowiańską i w pierwszym rzędzie mają z nich pożytek Niemcy.

(„Il Pensiero Slavo“ wydawane jest przez Chorwatów. Za całą odpowiedź na te zarzuty niechaj nam posłuży przypomnienie faktu, że wszyscy posłowie chorwaccy z wyjątkiem kilku, zasiadający w sejmie zagrzebskim, których więc chorwacki naród wybiera, są ślepem narzędziem Madziara, pana Hedervaryego. Cóż, gdybyśmy ich reprezentacyę identyfikowali z polityką i przekonaniami chorwackiego narodu?! Przyp. tłom.)

* * *

Małoruski „Chliborob“, organ radykałów rusińskich, pisze o stósunkach panujących na Rusi węgierskiej:

„Jest cząsteczka naszej wielkiej ojczyzny, o której nigdy nie powinniśmy zapominać, jako o braciach ciężko nawiedzonych. Tą jest Ruś węgierska. Tam o prostym ludzie nikt nie myśli, opuszczony i zapomniany skazanym on jest na wymarcie, a tem gorzej dla nas, że pozwalamy mu ginąć tuż pod naszym bokiem.

„Rusini węgierscy nie mają świadomości narodowej, nie interesują się wcale kwestyą narodowościową, duchowni tamtejsi nie znają naszego stósunku do Polaków i Rosyan, a na Ukrainie nigdy nie słyszeli o Chmielnickim, lub Szewczence. Zbliżeniu pomiędzy Rusinami węgierskimi a nami stoi też na przeszkodzie różnica językowa. Nawet inteligentni Rusini węgierscy nie rozumieją języka Szewczenki.

„Ktoby chciał dla Rusinów węgierskich wydawać gazetę lub książki, musiałby je drukować czcionkami madziarskiemi.“

BADANIA NAUKOWE.

ŻYCIE NA MARSIE.

Niczem nie wstrzymany popęd człowieka do zgłębiania warunków istnienia tej materyalnej podstawy, na której się wszelkie istnieni opiera: ziemi, stworzył już w zaraniu cywilizacyjnego rozwoju ludzkości jedną z najstarszych i najciekawszych nauk: astronomię. Chciwy jednak wiedzy i buntujący się przeciw tajemnicom umysł ludzki niezadawalnia się badaniem kierunku i rodzajów ruchu ciał niebieskich, rozsianych dłonią Stwórcy po ogromie wszech świata; on radby im wydrzeć także tajemnicę ich przeznaczenia i bytu, a na podstawie studyów i spostrzeżeń śmiało buduje gmachy hipotez, nawet — co do organizmów, zamieszkujących przypuszczalnie niektóre przynajmnie z planet bliższych naszej ziemi.

Od dłuższego czasu zwraca na siebie uwagę uczonych zwłaszcza Mars, a na podstawie badań astronomów, odznaczających się większą ścisłością, choć mniejszą może fantazyą, niż Flammarion, wolno stwierdzić, że koniec 19 stulecia poszczycić się może stworzeniem empirycznego dowodu, że człowiek, żyjący na ziemi, nie jest anjedynem, ani też bezwarunkowo najbardziej myślącem, najwięcej umysłowo rozwiniętem stworzeniem w wszechświecie! W każdym razie ostatnie te badania uczonych upoważniają ich do powtórzenia o sobie: „Nec frustra signorum obitus speculamur et ortus.“

Bezpośrednim powodem, dla którego astronomowie zwrócili swą uwagę na Marsa i poczęli szukać śladów życia na nim, było odkrycie głośnych kanałów na tym planecie, które za pomocą dobrych szkieł — mimo ogromnego oddalenia, dzielącego Marsa od ziemi — można zupełnie dokładnie rozróżnić. Zajęto się szczegółowo tymi kanałami, a rezultaty spostrzeżeń, jakie poczynił p. Lowell w Arizonie, wywarły powszechnie bardzo silne wrażenie. Oto północno-amerykański badacz wyraził zapatrywanie, że owe kanały należy uważać za dzieło mieszkańców Marsa, i że jedyną uwagi godną wątpliwością, jaka przeciw twierdzeniu temu się nasuwa, jest ogrom pracy, potrzebnej do urzeczywistnienia podobnego dzieła. Z drugiej strony jednak zwrócono następnie uwagę, że w pewnych warunkach budowa takich kanałów mogłaby być znacznie ułatwioną; postawiono przytem szereg hipotez, z których następująca zdaje się najwięcej zgadzać z rezultatami najnowszych badań o Marsie.

Przypuśćmy, że niwelacyjna praca, jaką spełniają t. zw. atmosferilia, t. j. lód, woda, powietrze, które kiedyś i naszą ziemię uczyniją zupełnie gładką, — postąpiła na powierzchni Marsa o tyle, że różnice w wysokościach wynoszą tam już wcale nieznaczną ilość stóp. Podobnie także i morza na Marsie są według naszych pojęć zupełnie płytkie. Trzeba dale przyjąć, że atmosfera jest tam o wiele rzadszą

MODLIŃSKI.

Żartuje hrabia To mi strzecha, urządzona jak pałac Cezarów lub byzantyńskie gineceum.

KAROL (*witając się*).

Pan tak rzadkim bywa u nas gościem.

MODLIŃSKI.

Droga daleka, panie Karolu, a interesów tyle, że aż głowa trzeszczy. I dzisiaj tylko minutkę zabawić mogę. (*do Ruszczewskiego*). A! pan Ruszczewski! widzieliśmy się w miasteczku (*podaje mu rękę, a następnie zwraca się do Karola*). No! A jakże Karłowice? Bez wstępu zaczynam interes, bo u mnie zawsze się pali.

WARECKI.

Czemu ten pośpiech? Sądzę, że pan dziś z nami wieczór przepędzi.

MODLIŃSKI.

Nie mogę hrabio. Dziś jeszcze muszę z plenipotentem moim w Orłowie odbyć konferencyę i zrewidować mączkarnię, a jutro rannym pociągiem odjeżdżam do domu na Kujawy, gdzie zakładam Kółko włościańskie. Całe życie moje to pociąg kolejowy, ale bez tej pracy gorączkowej dziś już żyć nie podobno. Pali się zewsząd, więc ratować trzeba. Jestem rólnikiem, kupcem, przemysłowcem, borowym, — czem chcecie. Dwoję się i troję i nie ustąpię z tej ziemi *usque ad finem*. Niemcy to naród czerstwy i zdrowy, od nich się uczę.

WARECKI.

Rezultaty wykazują, że nauka w las nie idzie. W przeciągu lat kilkunastu pan już piąty majątek kupujesz.

MODLIŃSKI.

Tak! w tych okolicach mamy zamiar zbudować cukrownię i chciałbym koniecznie dla buraczanej spekulacyi rozporządzać większym obszarem ziemi. Zasypują mnie zewsząd ofertami, ale dobra Karłowickie odpowiadają najwięcej widokom moim.

WARECKI.

Skiba w skibę pszeniczna gleba i położenie wspaniałe.

KAROL.

W obec tego jednak cena ofiarowana przez pana jest tak nizką, że zgodzić się na nią nie mogę.

MODLIŃSKI.

Ziemia to dobra, nie przeczę, ale zaniedbana zupełnie. Trzeba drenować i budować. Siedemdziesiąt talarów za morgę, to świetna cena. Jestem uczciwym człowiekiem i nikogo skrzywdzić nie pragnę. Nikt więcej za Karłowice ofiarować nie może.

KAROL.

Nikt? Kto wie!

MODLIŃSKI.

Chyba jedna kolonizacya.

WARECKI.

O! nie lękaj się pan. Judaszów nie ma w rodzinie Wareckich.

MODLIŃSKI.

W takim razie wątpię, czy spełnią się nadzieje panów. Karłowice dla zwykłego kupca, który ziemię ceni jedynie według jej produktywnej istoty, wyższej wartości nie mają. Ofiaruję 70 talarów za morgę i zapewniam, że nikt więcej nie da.

WARECKI.

Myli się pan, bo oto przed chwilą kuzyn nasz Ruszczewski przedstawił znacznie korzystniejsze propozycye.

MODLIŃSKI.

Pan Ruszczewski? (*do Ruszczewskiego*). Czemuż mi pan od razu tego nie powiedziałeś? Nie przypuszczałem nigdy, że rozporządzasz tak znacznemi kapitałami.

RUSZCZEWSKI.

To... to stało się tak.. niespodziewanie,... tak....

WARECKI (*przerywając*).

Kochanemu Michasiowi nie zjawił się wprawdzie amerykański wujaszek, ale za to Nabab litewski w postaci bezdzietnego brata. Tak, panie Modliński, ten człowiek w czepcu się rodził. Umiera mu brat bogaty gdzieś w zapadłych puszczach i na stare lata staje się panem Karłowic. (*Ruszczewski porusza się niespokojnie*).

MODLIŃSKI (*ściskając dłoń Ruszczewskiego*).

Winszuję serdecznie, winszuję i sądzę, że dziedzic Karłowic dochowa mi sąsiedzkiej przyjaźni.

niż u nas, tak że punkt wrzenia (u nas przy 100° C.) tam równa się 50° C., powietrze zaś jest o wiele więcej przesycone wodą, niż nasze. Z przypuszczeniami temi zgadza się dalsze spostrzeżenie, iż na Marsie tworzą się tylko nieznaczne chmury: wielkie chmury są bowiem rezultatem mięszania się wielkich mas atmosfery przepełnionych wilgocią, mięszanie się to jest jednak tem rzadsze, im atmosfera jest niższa.

Z drugiej strony przy wielkiem przesyceniu atmosfery Marsa wilgocią, można przypuszczać, że opady śniegu i lodu w bardzo na Marsie rozległych okolicach podbiegunowych są nieproporcyonalnie wielkie i że tworzą się tam — zwłaszcza na biegunie południowym, — ogromne góry lodu, które w czasie lata topnieją, powodując przez to silne prądy fal i silny napływ wody w kierunku południka w morzach Marsa, mających tylko niewiele stóp głębokości. W obec tych stosunków jasną jest rzeczą, iż w okresie tajania lodów wszystkie części stałych lądów, które w zimnej porze roku zaledwie wydobywają się z pod powierzchni wody, wówczas są całkiem zalane, oraz, że przypuszczalni mieszkańcy Marsa już od milionów lat poczęli przez wznoszenie wałów i grobli nietylko zapobiegać utracie gruntów pod wodą, lecz starają się także odbierać na nowo płytkiemu morzu dno jego, a w tym celu otaczają okolice, leżące na równi lub poniżej powierzchni wody, wałami i groblami nieznacznej zresztą wysokości, podobnie, jak się to np. dzieje na ziemi w Holandyi. Jeżeli to przyjmiemy, zniknął wnet wątpliwości co do sposobu tłomaczenia szybkiego powstawania i zanikania olbrzymich kanałów na Marsie, których budowanie według naszych pojęć, wydawałoby się niemal niemożliwem. Aby wybudować tam nowy kanał, potrzeba tylko narzucenia po obu stronach kanału grobli, mających 2 lub 3 stopy wysokości, oraz usunięcia grobli lub nasypów od strony morza, tak aby woda mogła w nie wejść. Budowanie tak wielkich grobli jest o tyle łatwiejsze od budowania wysokich, że tej samej ilości pracy potrzeba do wzniesienia grobli nizkiej, szerokiej na 50 kilometrów, ile potrzeba do budowy grobli wysokiej, mającej szerokości tylko 50 metrów. Groble tych kanałów mogą zresztą przez długi czas być przygotowywane, a wobec nieznacznej ich wysokości nie będzie ich można dojrzeć przez teleskop: staje się to natomiast nagle możliwem, gdy po usunięciu wałów od strony morza, napełnią się kanały te wodą — co dzieje się głównie w czasie trwania prądów fal, idących od biegunów. Nizkie groble wystarczają zaś tam zupełnie do zabezpieczenia gruntów przed zalewem wody, wobec nizkiej bowiem atmosfery na Marsie nie ma prawdopodobnie wiatrów, wytwarzających silne falowanie wody, a wogóle na płytkich morzach wielkie fale nie mogą się tworzyć. Można także przyjąć, że oba małe księżyce Marsa pomimo niewielkiego oddalenia od tego planety, nie wywołują również znaczniejszych zmian w stanie wody, odnośne bowiem działanie tych księżyców neutralizuje tarcie fal o dno, nieuniknione przy małej głębokości mórz na Marsie.

Nie potrzeba jednak mniemać, że olbrzymie kanały na Marsie przypuszczalnym mieszkańcom tegoż planety służą wyłącznie lub przeważnie do celów transportu; prawdopodobniejszą jest przeciwnie rzeczą, że obok tego zadania spełniają one przedewszystkiem misyę nawodniania, przyczem bajeczna dla naszych pojęcich szerokość i długość prawdopodobnie w tem znajduje uzasadnienie, iż są tak bardzo płytkie, oraz że przy małej sile ciężkości na Marsie, powodującej powolny pęd fal, gdyby kanały nie były takie szerokie, woda nie napływałaby dosyć prędko i w dostatecznej ilości, aby spełniać cele nawodnienia, zwłaszcza, że kraj jest tak płaski, a silne parowanie wody odbywa się już przy tak nizkim punkcie jej wrzenia. Jeszcze większe prawdopodobieństwo ma za sobą hipoteza, że kanały te, przy wielkiej cywilizacyi mieszkańców Marsa, służą do celów uprawy roli, a do budowy ich zmusza fakt przeludnienia planety. Owe groble, czy wały budowane są może przy pomocy olbrzymich pługów parowych, a to, co my uważamy za kanały mniej lub więcej widoczne (stosownie do stanu wody w nich), mogą być tylko olbrzymie pola, użyte pod uprawę ryżu czy innej podobnej rośliny wodnej, w rozmaitych stadyach jej kultury.

Lovell, opierając się na swych spostrzeżeniach, przypomina przedewszystkiem, że na Marsie stosunkowo jest znacznie mniej wody w postaci zostających z sobą w łączności mórz, niż na ziemi. Jest tam mianowicie jedno wielkie morze — w okolicy południowego bieguna — oraz liczne mniejsze łożyska, które tylko w części lub w pewnych okresach roku do pewnego stopnia napełniają się wodą. Gdy mianowicie po upłynięciu pory zimowej rozpocznie się na Marsie tajanie śniegu na granicach południowej strefy biegunowej, strefa ta otacza się natychmiast ciemnym pasem. Lowell w zeszłym roku przekonał się, że ów ciemny pas ma kilkaset angielskich mil szerokości i z tygodnia na tydzień posuwał się, w miarę jak ława śniegu topniała, coraz bliżej do bieguna. Na podstawie tych spostrzeżeń nie można wątpić, iż ów ciemny pas to woda powstała z tajania. Lovell zauważył także, że sine plamy na Marsie, które nazywają jeziorami, napełniały się ową wodą zrazu jak gdyby żyłami ciemnemi, a potem wkrótce w całej swej rozciągłości pociemniały. Widocznie zatem łożyska mórz napełniła woda. Tymczasem po pewnym okresie ciemne przestrzenie poczynały na nowo blednąć, a w końcu stały się równie czerwonawo-żółte, jak stały ląd na Marsie i nie można już było rozróżnić ich granic. Widocznie owa woda spełniła już swoje zadanie i zniknęła tak, że trudno powiedzieć, co się z nią stało. Łatwo sobie jednak owo zniknięcie wytłomaczyć, gdy się wraz z Lovellem przyjmie, iż owe sine przestrzenie napełniły się wodą tylko bardzo nieznacznej głębokości, a wskutek tego powstały tam wnet bagniste grunta, na których szybko rozwinęła się silna wegetacya. Wegetacya ta powoduje zniknięcie ciemnej barwy tych przestrzeni i zaciera ich granice od strony stałych lądów. W końcu cała południowa część Marsa stała się prawie równomiernie żółtawo-czerwona, a tymczasem zarysowały się kanały, najprzód od strony południowej, od której łączą się z morzami i jeziorami, — jako ciemne i szerokie pasy; to ciemnienie ich posuwało się zaś coraz dalej w kierunku północnym. Objaw ten można najlepiej przez to wyjaśnić, że masy wód przychodzące od południa, zwolna coraz dalej w kierunku północnym wchodziły we wnętrze wielkich, z sobą połączonych lądów stałych. Spostrzeżenie to potwierdziły dawniejsze już przypuszczenia, że owe kanały służą istotnie do tego, aby lądom stałym dostarczać wody, powstałej z tajania śniegu. Kanały te zbiegając się częstokroć w jedną okrągłą, ciemną plamę: plama ta jest widocznie niczem innem, jak wspólnem zbiorowiskiem wody z tych kanałów.

Zbadana przez Lovella, a poparta i uzasadniona powyższym obrazem krążenia zwolna płynących mas wody na Marsie teorya kanałów, potwierdza przypuszczenie, że kanały te są sztucznym wytworem myślących stworzeń na owym planecie, wytworem, przeznaczonym do tego, aby utrzymać masy wody topniejącego śniegu w granicach, które nie są już groźnemi, oraz aby zwrócić tam, gdzie mogą wyjść na pożytek mieszkańcom Marsa. Wielkie przestrzenie stałych lądów na Marsie są według Lovella z natury swej nieurodzajne, bo pozbawione przyrodzonej wilgoci; stają się one prawdopodobnie tam tylko urodzajnemi, gdzie owe kanały zaopatrują je we wodę. Mogłaby jeszcze powstać kwestya, czy Mars dzisiaj także zamieszkany jest przez żyjące stworzenia, czy też owe kanały pochodzą z dawnych jeszcze lat, a ludność Marsa tymczasem już wymarła. Otóż ponieważ kanały te w walce z żywiołem wody prędko musiałyby uledz, gdyby nie były konserwowane i doglądane, a przeciwnie dzisiaj przedstawiają

RUSZCZEWSKI.

Tak... dziedzic Karłowic... tak... będziemy pić na miedzy po szlachecku, aż nam serce pęknie! Zostańcie z Bogiem. (*robi ręką znak zniecierpliwienia i wychodzi.*)

Scena VI.

Warecki, Karol, Modliński,

MODLIŃSKI (*z urazą*).

Co to znaczy? Postępowanie tak dziwne.

WARECKI (*śmiejąc się*).

To stara generacya o miękkiem sercu i potężnym zasobie uczuć rodzinnych. Biedny Michaś przywiązał się do brata serdecznie. Każde wspomnienie o nieboszczyku łzy mu ciśnie do oczu.

MODLIŃSKI.

Ej! to minie. Pieniądz jest najlepszym plastrem na bóle moralne.

(*wchodzi Melanja i Marta w słomianych kapeluszach na głowie.*)

Scena VII.

Ciż, Melanja i Marta.

MELANJA.

Witam panów... Wuju! Dostrzegłam z daleka kabryolet pocztowy. Zdaje mi się, że pan Wolski tu jedzie.

WARECKI (*z pewnym ambarasem*).

A! tak. Miał dzisiaj przybyć.

MODLIŃSKI.

Pani pozwoli, że złożę jej raz jeszcze życzenia serdeczne. Jestem przeciwnikiem politycznym Wolskiego, ale cenię jego talent, jego zapał dla sprawy narodowej i pracę. Jeżeli jest jaka fałszywa nuta w tej gorącej duszy, to miłość wyrównać powinna dysonanse. Małżeństwo Pani może stać się ważnym czynnikiem w życiu naszem publicznem, a zatem niech wam Bóg błogosławi. (*podaje rękę Marcie, następnie zwraca się do Wareckich*). A teraz żegnam panów. Przyjemność trzeba poświęcić dla obowiązku (*podaje rękę Wareckim*).

WARECKI.

Przykro mi rzeczywiście, że te nieszczęsne Karłowice...

MODLIŃSKI (*przerywając.*)

Ależ, hrabio, szaleństwem byłoby z mej strony, mieć jakiekolwiek pretensye. Ten piękny kawał ziemi polskiej nie pójdzie na marne. To dla mnie wystarcza zupełnie. (*podaje rękę Karolowi*). Do widzenia panie Karolu! (*do pań kłaniając się:*) Panie! (*wychodzi*).

Scena VIII.

Warecki, Karol, Melanja, Marta, w końcu lokaj.

WARECKI.

Jedna sprawa ubita. Ale ten Wolski ...ten Wolski! (*przechadza się gwałtownie po pokoju*).

MARTA (*spoglądając przez okno*).

Zajechał.

WARECKI.

Ha! po takiej kompromitacyi trzeba brnąć dalej w tem błocie.

MARTA.

Ojcze!

WARECKI.

Warecka w objęciach Wolskiego!.. przed światem, przed tłumem ludzi! Oszaleć można.

MELANJA.

Wuj ocalił sytuacyę ogłoszeniem zareczyn.

WARECKI.

Przylepiłem plaster legalności, ale czy sądzisz, że świat ma bielmo na oczach? (*po chwili*). Stało się! Trzeba resztki honoru ratować. (*do Marty*) Pamiętasz o warunkach?

MARTA.

Dałam słowo bez wszelkich zastrzeżeń i nie mam prawa dyktować warunków, ani siły, ani odwagi.

WARECKI.

Co?

(*wchodzi lokaj*).

LOKAJ.

Pan Wolski.

WARECKI.

Proś (*lokaj wychodzi*). Ostrzegam cię, Marto, nie przeciągaj struny.

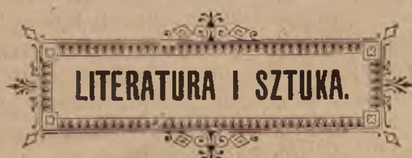
(*Wchodzi Wolski*).

Scena IX.

Ciż i Wolski.

(*Wolski całuje Martę w rękę, ściska serdecznie dłoń Melanii i wita się ceremonialnie z Wareckim i Karolem.*)

się jako zupełnie odpowiadające celowi, trzeba przeto przyjść do przypuszczenia, iż Mars zawsze jeszcze zamieszkany jest przez myślące stworzenia. Jak wyglądają owi mieszkańcy najbliższego naszej ziemi sąsiada, to pozostanie już prawdopodobnie na zawsze dla nas tajemnicą; widocznie jednak muszą oni myśleć i porozumiewać się z sobą, czuć, widzieć i słyszeć, znać się na geometryi, podobnie jak my, a pod względem biegłości w pracach technicznych może nas nawet przewyższyli. M.



Stosunki literackie Rusi halickiej.*)

Już w pierwszej połowie XIV wieku Ruś halicka straciła łączność z innemi południowo ruskiemi dzielnicami. Tylko w ciągu bardzo niedługotrwałego okresu — od unji lubelskiej (1569) do powstania Bohdana Chmielnickiego, cały kraj maloruski poczyna żyć wspólnem życiem. Do tego właśnie czasu odnosi się początek południowo ruskiej literatury narodowej w języku dość zbliżonym jeśli nie do ludowego ukraińskiego, to do tego, którym się posługiwało południowo-ruskie mieszczaństwo i drobna szlachta. Zjawia się cały szereg pisarzy (Herasym Smotrycki, Bazyli Surażski, Iwan Wyszeński, Cyryl Stawrowiecki, Melecjusz Smotrycki, Gawatowicz, Galatowski i inni), którzy pomimo swego pochodzenia z różnych prowincyi (z Wołynia, z Galicyi, z Ukrainy) są świadomi wspólności swych interesów narodowych, chociaż pracują w różnych miejscowościach (we Lwowie Kijowie, Ostrogu, Łucku, Czernihowie, Wilnie).

Wojny kozackie zadały cios śmiertelny tej łączności, a unja religijna, zaprowadzona w Galicyi, zniszczyła ją ostatecznie. Z przyłączeniem do Austryi, Galicya znalazła się w warunkach całkiem odmiennych od tych, w których rozwijały się pozostałe dzielnice Rusi. Nowe warunki polityczne i kulturalne sprawiły, że Rusini haliccy wytworzyli samodzielny typ kulturalny, wcale niepodobny do typu innych małorusinów. Wpływ polskiej kultury był tak potężny, że odbił sie nietylko na szlachcie, wyższem duchowieństwie i zamożnem mieszczaństwie — te warstwy spolszczyły się całkowicie — ale i na niższych klasach: drobnej szlachcie i chłopach. W 4-tym dziesiątku b. stulecia w Galicyi nie było inteligentnych Rusinów, używających innej mowy oprócz polskiej, a po części niemieckiej. Nieliczne książki, które się ukazywały w Rusi halickiej, były pisane w języku cerkiewnym z obfitą domieszką form polskich i małoruskich.

Początki *narodowej* literatury Rusi halickiej odnoszą się do r. 1837, kiedy ukazuje się słynna „Rusałka Dniestrowa“, wydana przez Szaszkiewicza, Hołowackiego i Wazilewicza. W 7-ym lat dziesiątku młoda literatura, pokrzepiona wpływem Ukrainy, utrwala się i odtąd rozwój jej kroczy całkiem naturalną drogą.

Język małoruski, którym posługuje się cała ludność Rusi halickiej — i lud i inteligencya, musiał w ciągu jakichś 50—60 lat przebyć ten proces, który język bolski przeżywał od Reja i Kochanowskiego do Mickiewicza. Z gwary włościan, drobnych mieszczan i wiejskich popów, nieposiadającej prawie żadnej literatury, w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu wyrobił się język, który jest wykładowym nietylko w szkołach ludowych, ale w gimnazjach i nawet w uniwersytecie, w którym wygłaszane są mowy w sejmie i wydawane pisma i książki najróżnorodniejszej treści. Procesu tego nie można uważać za całkiem ukończony; odbywa się on jeszcze i dotąd. Daje się to zauważyć zwłaszcza w zakresie nauki, gdzie każdy uczony małorusin musi własną pracą uzupełniać niewyrobione słownictwo. Gdy porównamy jakiekolwiek z pism małoruskich, wydawane przed 10-12 laty z takim organem jak n. p. „Zytie i Słowo“, to musi nas zadziwić ogromna różnica językowa. Mowa pierwszych jest bardzo daleką od ludowej, mnóstwo w niej wyrazów i polskich i cerkiewno-słowiańskich i wielkoruskich, mnóstwo najniefortunniej ukutych słów; co chwila spotykamy zwroty i łacińskie, i niemieckie, i polskie, tylko nie ludowe małoruskie. Nic też w tem dziwnego. Język, ktorym każdy wykształcony Rusin władał najlepiej, był polski; język niemiecki był mu również dość dobrze znany. Cerkiewno-słowiański znał on jako unita. Książek naukowych małoruskich prawie nie było. Trzeba było wyrabiać nowy język. Ma się rozumieć, że praca ta stawała się coraz łatwiejszą w miarę tego jak wzrastał zasób terminów naukowych. Obecnie Rusin już z łatwością może napisać i artykuł publicystyczny politycznej lub literackiej treści, i podręcznik szkolny i monografią naukową. Śledząc rozwój języka małoruskiego w Galicyi, nie możemy nie spostrzedz, że się ten ostatni coraz bardziej zbliża pod względem czystości do ludowego; z drugiej strony pomału wyrabia się wspólny język literacki dla wszystkich Rusinów, w którym obecnie pisze i galicyanin, i bukowińczyk i kijowianin, i kubaniec. Przyczyna tego jest następująca. Jak wiadomo, literatura małoruska w Rosyi jest zupełnie wzbroniona. Ani pism małoruskich, ani książek naukowych, lub chociażby tylko populurno-naukowych, ani dzieł przełożonych z innych języków w Rosyi wydawać nie wolno. Otóż wskutek tego prawie wszyscy spółcześni pisarze małoruscy z Rosyi przenieśli swą działalność literacką na grunt galicyjski. Tam wydają oni swe utwory, tam zamieszczają swe artykuły w czasopismach, tam pracują na polu literatury dla ludu i t. d. Gdy przeglądamy niektóre z wydawnictw galicyjskich, jak „Zorja“. „Dzwinok“, „Prawda“ lub „Zapyski“ Towarzystwa im. Szewczenki, od razu wpada nam w oko ogromna ilość zamieszczonych tam prac małorusinów rosyjskich. Trzeba przyznać, że Ukraińcy piszą daleko lepszym językiem niż galicyanie. Język ich jest znacznie bliższy ludowemu. Lektura utworów ukraińskich wpłynęła bardzo dodatnio na język pisarzy galicyjskich, pisarze zaś ukraińscy, nie mając u siebie pola do wyrobienia literatury naukowej, brali żywcem od galicyan terminy naukowe i zwroty publicystyczne. W ten sposób wyrobił się język ogólno-małoruski, którym posługują się obecnie Małorusini z obu stron kordonu.

Trzeba oddać sprawiedliwość Rusinom — zdołali oni pomimo swego bardzo niekorzystnego położenia osięgnąć dość dużo. Najwięcej zrobili Rusini na polu szkólnictwa i oświaty ludowej. Obecnie mają oni trzy gimnazya (we Lwowie, w Przemyślu i w Kołomyi) z językiem wykładowym małoruskim, seminarjum nauczycielskiem w Samborze, które przy utrakwistycznem urządzeniu ma charakter małoruski. Na uniwersytecie lwowskim istnieje kilka katedr małoruskich, między innemi katedra języka i literatury małoruskiej tudzież historyi Rusi. Wielkie zasługi położyło towarzystwo „Proświta“, założone 25 lat temu przez grupę młodzieży. Towarzystwo to wydało wielką ilość książeczek dla ludu z zakresu beletrystyki, historyi nauk przyrodniczych, prawa, medycyny i t. d. Główną masę

*) Patrz Nr. 23 i 24 „Przeglądu Poznańskiego“ z r. 1894 gdzie zostały scharakteryzowane stosunki partyjne Rusi. (Przyp. Red.)

WARECKI.
Zechciej pan zająć miejsce.

WOLSKI.
Dziękuję. Zanim posłuszny będę wezwaniu pańskiemu, chcę wyjaśnić położenie i odpowiedzieć raz jeszcze na wa unek, który za ostatniej mojej bytności w Turowie pan hrabia raczyłeś postawić.

WARECKI.
Przekonany jestem, że po niesłychanym skandalu, na jaki dom mój naraziłeś, nie zechcesz pan nowej gotować nam niespodzianki.

WOLSKI.
Cztery tygodnie mija od chwili, w której wraz z panną Martą stanąłem przeciw panu i przeciw konwenansowi. Prawa serca stawiam wyżej od kodeksu ustaw salonowych i przestępując po owym pamiętnym wieczorze próg pańskiego domu, starałem się ujawnić całą potęgę pobudek, które mnie skłoniły do tego, co pan raczyłeś nazwać skandalem.

WARECKI.
Zdaje się, panie Wolski, że w tej sprawie nie porozumiemy się nigdy. Zamknijmy więc nad nią akta i zwróćmy się do warunku, który postawiłem na progu pańskiego małżeństwa. Czy pan zdecydowałeś się rzucić redakcyę Trybuny i zaniechać zupełnie karyery publicystycznej, lub też stanąć po stronie naszej, po stronie tych, którzy cię do rodziny swojej przyjmują.

WOLSKI.
Nazwijmy rzecz po imieniu. Żądasz pan odstępstwa.

WARECKI.
Żądam nawrócenia, żądam od zięcia mojego, aby walczył za uczciwą sprawę.

WOLSKI.
Uczciwem jest każde przekonanie, jeżeli nie służy egoistycznej rachubie. A jakiem mianem nazwałbyś, panie hrabio, syna swojego, gdyby za pieszczotę ukochanej kobiety sprzedał sztandar i zasady własne.

KAROL (*wzrusza ramionami*).
Literacki sofizmat.

WARECKI.
Nie myślę wyjeżdżać na harce dyalektyczne. Żądam stanowczej odpowiedzi: Tak lub nie?

WOLSKI.
A więc... Nie!

KAROL.
Co?

WARECKI.
Panie Wolski, czy to ostatnie słowo?

WOLSKI.
Ostatnie. Tu na tem miejscu przed tygodniem propozycya twoja, panie hrabio, okryła mnie rumieńcem wstydu, a pan z dziwnym uśmiechem szepnąłeś: Namyślisz się! To słowo, to przypuszczenie dniem i nocą nie dawało mi spokoju. Więc raz jeszcze, raz jeszcze powtarzam: Nigdy! Nigdy! panie hrabio

WARECKI.
I pan sądzisz, że ja rękę mej córki oddam redaktorowi demagogicznego pisma, że z anarchią i socyalizmem bratać się będę. (*Melanja obejmuje Martę w pół i szepce jej coś do ucha. Marta przez cały ciąg rozmowy okazuje wielki niepokój i drze batystową chusteczkę.*)

WOLSKI.
O! panie hrabio. Dawniej mówiliście „mason“, — dziś mówicie „socyalista“. Każdy, kto przeciw hegemonii waszej ośmiela się protestować, powiewa czerwoną chustą anarchii. Umyślnie mieszacie pojęcia, ażeby nas zdeptać. A jednak my nie padniemy, nie padniemy, chociażby nawet za taką cenę, jaką pan ofiarujesz.

KAROL.
Sądzę zatem, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

WOLSKI.
Nic? (*do Marty*) I pani nic mi nie masz do powiedzenia?

WARECKI.
Wola ojca jest wolą córki.
(*Wolski spogląda niespokojnie na Martę i Melanję.*)

MELANJA (*z wysiłkiem*).
A ludzie?

WARECKI.
Nie pytałem się o zdanie twoje. (*do Wolskiego*) Skompromitowałeś pan córkę moją, aby pod presyą opinii publicznej zaprowadzić ją do ołtarza. Ale omyliłeś się, panie Wolski. Gdyby nawet w habicie zakonnicy dni swoich dokonać miała, — Warecka potknąć się może, ale nie upadnie nigdy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

członków towarzystwa stanowią włościanie, dla których „Proświt" wydaje oprócz książek jeszcze i pismo „Czytelnia". W ogóle co się tyczy oświaty ludowej, to na Rusi halickiej robi się dość dużo; tu nawet moskalofile przynoszą pewną korzyść, gdyż założyli oni na wzór „Proświty" „Towarzystwo im. Kaczkowskiego", które również wydaje książeczki popularne, chociaż w języku nie zupełnie ludowym. Każde z trzech istniejących w Galicyi stronnictw stara się zdobyć lud dla siebie. Narodowcy oprócz książeczek „Proświty" i „Czytelni" wydają jeszcze dwutygodnik „Bat'kiwszczyna"; moskalofile „Russkoje Słowo"; radykaliści „Chliborob", „Kromadśkyj Hołos" i cały szereg broszur.

Posiadają Rusini w zarodku i Akademję umiejętności — „Towarzystwo imienia Tarasa Szewczenki", założone dwadzieści lat temu za pieniądze, ofiarowane przez kilku patryotów ukraińskich. Towarzystwo to zresztą rozwijało dotąd bardzo słabą działalność. Do bardzo niedawnego jeszcze czasu ograniczało się ono do wydawania literackiego pisma ilustrowanego „Zorja" tudzież utworów beletrystycznych pisarzy galicyjskich i ukraińskich. Tylko przed dwoma laty zmieniło swój charakter. Zostało ono przetworzone na wzór innych towarzystw naukowych z podziałem na sekcye: filologiczną, historyczno-filozoficzną i matematyczno-przyrodniczo-lekarską. Tak zreorganizowane towarzystwo wydało pięć tomów „Zapisków", w których zamieszczono cały szereg prac naukowych różnej treści, napisanych bądź przez miejscowych uczonych, bądź przez ukraińskich.

Teatr ruski w Galicyi przedstawia się dość nędznie i rozwija się nadzwyczaj powoli w porównaniu do teatru małoruskiego na Ukrainie. Szybko natomiast rozwija się prasa. Obecnie w Galicyi i na Bukowinie (która żyje wspólnem z Galicyą życiem duchowem) istnieją następujące wydawnictwa perjodyczne. Na pierwszem miejscu trzeba postawić dwumiesięcznik „Żytie i Słowo", wyborne pismo literacko-naukowe, wydawane przez dra Iwana Frankę. W piśmie tem pojawiło się dotąd dużo bardzo cennych artykułów, zwłaszcza z dziedziny historji literatury i folklorystyki. Dzięki wykształceniu i talentowi swego wydawcy, pismo to jest prowadzone tak, że może być ozdobą każdej literatury.

Wszystkie inne pisma galicyjsko-ruskie stoją daleko niżej pod względem swej wartości naukowej i literackiej. Po „Życiu i Słowie" pierwsze miejsce należy się „Zorji", pismu obrazkowemu, zapełnianemu głównie przez prace Ukraińców: Lewickiego, Czajczenki, Szkaliczenki, Koniskiego, Lesi-Ukrainki, Karpenki, Kropiwnickiego, Komarowa i innych. W „Zorji" drukowała się również „Historja literatury małoruskiej" ś. p. prof. Emila Ogonowskiego. Bardzo starannie jest prowadzony dział bjbljograficzny tego pisma, to też, mając „Zorję", czytelnik może doskonale informować się we wszystkiem, co literatury małoruskiej dotyczy. „Zorja jest pismem całkowicie poświęconem beletrystyce i w bardzo małej mierze nauce. Całkiem inny charakter ma miesięcznik „Prawda", który oprócz literatury i nauki wielką uwagę poświęca i polityce, przedstawiając osobisty organ znanego posła Aleksandra Barwińskiego. W piśmie tem można spotkać obok postępowego artykułu jakiegoś Ukraińca, krańcowo wsteczną pracę redaktora. Literacko-polityczny charakter ma i dwutygodnik „Narod" — organ radykalistów, w którym ukazują się bardzo ciekawe artykuły, poświęcone społeczno-ekonomicznym i literackim stosunkom Galicji i Ukrainy. Codziennych pism w języku małoruskim wychodzi dwa: — „Diło" — organ narodowców i „Narodne Czasopyś", pismo urzędowe. Polityczny organ Rusinów bukowińskich „Bukowyna" wychodzi cztery razy na tydzień. Prawnicy wydają kwartalnik „Czasopyś prawnycza"; pedagogowie „Uczytel". Pism dla dzieci posiadają Rusini dwa; „Dzwinok" (Lwów) i „Łastiwka" (Czerniowce); humorystykę reprezentuje „Striła". Do rzędu wydawnictw peryodycznych należy zaliczyć „Bibljotekę historyczną" A. Barwińskiego, mieszczącą przekłady monografii, dotyczących dziejów Rusi, Ukrainy i „Bibliotekę literacko-naukową", wydawaną przez dra Iwana Frankę, w której ukazały się utwory literacko-publicystyczne M Dragowanowa i monografja wydawcy „Iwan Wyszeński". Przy „Dile" wychodzi bibljoteka najznakomitszych powieści.

Książek wychodzi w Galicyi bardzo mało. A i te są przeważnie odbitkami z czasopism, albo podręcznikami szkolnemi, albo też kalendarzami i almanachami. Na całej produkcyi literackiej Rusi halickiej leży piętno jakiegoś zacofania Nic też w tem dziwnego. Do bardzo niedawnych czasów przeważająca większość inteligencji ruskiej w Galicyi składała się z popów unickich, a klerykalizmem unickim przesiąknęło całe społeczeństwo ruskie. Główny zastęp prenumeratorów pism stanowią popi, jako ludzie zamożniejsi, też redaktor, chociażby był człowiekiem bardzo wolnomyślnym, musi liczyć się z wymaganiami swych czytelników i obawia się zamieścić utwór nieco liberalniejszy. Na tę cenzurę redakcyjną ustawicznie skarżą się pisarze ukraińscy. Ma się rozumieć, że zarzuty te nie dotyczą wydawnictw takich jak „Żytie i Słowo" lub „Narod", — pisma te stoją na poziomie wymagań europejskich.

Pomiędzy współczesnymi pisarzami ruskimi w Galicyi, oprócz Franki i Kobrzyńskiej, którymi się zajmiemy szczegółowo, znajduje się kilku poetów i młodych uczonych, nie pozbawionych zdolności. Pomiędzy pierwszymi wyróżniają się: Józef Makowej, autor poematu „Nowicjusz"; Bazyli Szczurat, który bardzo ładnie przełożył „Pieśń o Rolandzie"; A. Chodowicki, utalentowany liryk, i Julja Sznajder, która zresztą prawie zupełnie umilkła w ostatnich czasach. Pomiędzy uczonymi zasługują na uwagę dr. Aleksander Kołessa, który obrał za specjalność studja porównawcze z dziedziny literatur ruskiej, polskiej i rosyjskiej (Mickiewicz a Szewczenko", „Pieśni ludowe ukraińskie w poezjach Bohdana Zaleskiego", „Wpływ Żukowskiego na Zaleskiego i t. d. i Wacław Budzynowski, ekonomista, który dał się już poznać publiczności z wybornych prac, jak „Stosunki agrarne Galicyi", „Chłopska posiadłość" i t. d.

Leon Wasilewski

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Eleonora Duse w Kolonii.

Kolonia, 24 kwietnia.

Eleonora Duse, jest osobą średniego wzrostu, smukłej kibici i smagłej twarzy, okolonej w życiu codziennym falą kruczych włosów. Twarz jej rozjaśniona południowym blaskiem płomiennych oczu, mimo lat dopiero 35, wygląda zmęczono. Bywają dnie, że artystka używa laski przy chodzeniu. Życie za młodu i po niej przemknęło szorstką swą ręką. Młodość diwy, spędzona nie na różach, dużo zawiera ciekawych epizodów i zajmujących szczegółów z koczowniczego życia wędrownych artystów. Duse urodzona w Vicency jest nietylko prawdziwem dzieckiem włoskiego nieba, ale i sceny i talent dramatyczny odziedziczyła po ojcu, który również był aktorem. O ojcu artystki, głośnym swego czasu komiku, powiadają, że przybywszy swego czasu z maleńką trupą do Padwy, rozesłał swoją rzeszę po mieście z poleceniem rozlepienia afiszów, które ogłosiły, jako: „Luigi Duse zawiadamia kochanych swych Paduanów, że z wyborową trupą przybył do miasta Liwiusza i Petrarki i nazajutrz rozpocznie przedstawienia". Przedstawienie odbyło się, ale teatr świecił pustkami, bo studenci, ówczesne gros teatralnych widzów, przed pierwszym miesiąca nie mieli monety, a „kochani Paduanie" zapowiedzianą tragedyą nie bardzo się zainteresowali. Ponieważ zaś Paduanie *brillaient par leur absence*, a dyrektor wędrownej trupy rzadko bywa kapitalistą, więc naturalnem następstwem niefortunnego przedstawie-

---

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M W.**

— No, teraz to już dobrze — mówił otrzepując śnieg z ubrania. — A ten szczeka omal nie ochrypnie! Dość już, dość, głupia psino! sama siebie nadaremnie tylko utrudzasz: swój, nie złodziej!

— Toż to przecie — jak powiadają — jeden z trzech doradzców domowych, zauważył Pietrek, przerzucając silną ręką sanki, które na zewnątrz zostały.

Jakże to, doradzców?

— W Paulsonie*) tak stoi wydrukowane: gdy złodziej skrada się do domu — pies szczeka, abyś nie zasypiał, miał się na baczności. Kogut pieje ma to znaczyć: do pracy nie zrywaj. Kot łapką się myje, to znaczy: czekaj drogiego gościa, szykuj się na jego przyjęcie — prawił uśmiechając się Pietrek.

— Słusznie mówisz — pochwalił Nikita.

*) Paulson — autor czytanki dla szkół ludowych. (Przyp. tłum.)

— Zmarzłeś, jak sądzę, stryjku — dorzucił Pietrek.

Tak, dość — przyznał się Nikita. Poczem skierowali się obaj przez podwórze i sienie do izby.

IV.

Chata, do której zajechał Brechunow, należała do najzamożniejszych we wsi. Rodzina miała pięć nadziałów ziemi, a prócz tego wydzierżawiała obce grunta. W stajni i oborze stało sześć koni, trzy krowy, dwie jałówki, ze dwadzieścia sztuk owiec. Rodzina składała się ze dwudziestu dwóch osób: czterech synów żonatych, sześciorga wnuków, z których jeden, znany nam Pietrek, był już żonaty, dwóch prawnuków, trojga sierót i czterech synowych. Była to jedna z rzadkich rodzin, które jeszcze nie przeprowadzały u siebie podziału gruntów, ale i tu nurtowała już oddawna głucha rozterka wewnętrzna, której początek dały, jak zwykle, kobiety i która niechybnie doprowadzić musiała w bliskiej przyszłości do podziału. Dwaj synowie przebywali w stolicy dla zarobków, jeden był w wojsku. W domu znajdowali się w tej chwili dziaduś, jego żona, syn gospodarz, syn który przyjechał ze stolicy na święta, oraz wszystkie kobiety i dzieci; prócz domowników był jeszcze gość: wójt-sąsiad.

Nad stołem zwieszała się lampa z daszkiem, której jaskrawe światło padało na stół z przyborami do herbaty, flaszką wódki, zakąskami i odbijało się o róg izby, w którym widniały obrazy święte, mające z obu stron świeckie ryciny.

Za stołem zasiadł na pierwszem miejscu Brechunów w jednym już tylko czarnym kożuszku i chuchając w zlodowaciałe wąsy, rozglądał się wynikłemi, jastrzębiemi oczyma po izbie i obecnych. Obok niego umieścił się stary ojciec, brodaty i łysy, w białej z domowego płótna koszuli, przy nim w cienkiej perkalowej koszuli syn, który przyjechał ze stolicy, zuch o potężnym karku i ramionach, dalej najstarszy syn-gospodarz, o szerszych jeszcze barkach, a nakoniec chudy i rudawy wójt.

Mężczyźni pili już wódkę i zakąsywali, oczekując teraz z kolei na samowar, który syczał na podłodze przy piecu. Na pryczach i piecu poumieszczały się dzieci, na tapczanie siedziała, pochylając się nad kolebką, starsza jakaś kobieta, a staruszka gospodyni o twarzy pokrytej siatką drobnych zmarszczek, przecinających nawet jej wargi, krzątała się koło Brechunowa.

W chwili właśnie, kiedy Nikita wchodził do izby, nalewał wódki w kieliszek z grubego szkła i podawał gościom.

— Czem chata bogata, tem rada — zaprazsał stary — bez wymówek, prosimy, za wasze zdrowie!

Widok i zapach wódki — teraz zwłaszcza, kiedy czuł się tak ziębniętym i znużonym, sil-

nia był zastój interesów, odbijający się najwięcej na niewypłaconej gaży aktorom. Stary Duse widząc się w opałach i przewidując z powodu kieszonkowych suchot upadek swej sceny, wziął się na sposób, i ażeby zwabić liczniejszą publiczność do prymitywnej świątyni Melpomeny, w której on pełnił obowiązki arcykapłana, ogłosił następnego dnia urbi et orbi, że „dnia dzisiejszego wystawioną zostanie nowa farsa, ułożona i odegrana jedynie i tylko przez dyrektora L. Duse“. Niezwykłe to zdarzenie zainteresowało publiczność, żądną widzieć w jednej osobie i autora i aktora na scenie; po mieście rozpowiadano sobie niezwykłą nowość, reklamowano mimowoli teatr, a wieczorem soldami i lirami zapchano panu dyrektorowi kasę. Teatr był zapełniony po brzegi, bo i studenci zanieśli słowniki na studya hebrajszczyzny, przybyli tłumnie i zajęli miejsca tuż przed estradą. Lecz jakież było zdziwienie publiczności, gdy za podniesieniem kurtyny, ukazał się na scenie stary Duse ubrany żałobnie i z miną grabarza płaczliwym głosem tak się odezwał do zgromadzonych: „Czemu nie przychodzicie do teatru i czy myślicie, że komedye gram dla przyjemności! O nie, kochani Paduanie, a mianowicie kochani studenci. Bez waszych lirów Duse jest biednym djabłem, latarnią bez światła, wozem bez kół. Czyż wam się nie podobają wystawione przezemnie sztuki? he? czyż nie mam zdatnych aktorów, a ja, czyż nie jestem Duse?“ Po tej przemowie podniósł się z pierwszych ław jakiś starszy już student i prawdziwym basso profundo tak odpowiedział: „Jutro, kochany panie Duse, jest niemożliwem, bo pojutrze mamy egzamina i jutrzejszy dzień trzeba spędzić na przygotowaniach, ale pojutrze z patentem, czy bez otrzymanego patentu wszyscy się tu stawimy“. „A gęś niech tego kopnie, kto się nie stawi“, dodał Duse i wśród burzy oklasków i homerycznego śmiechu zapadła kurtyna.

Eleonora Duse nie od razu zajaśniała sławą i potrzeba było dopiero chimery losu, żeby publiczność zwróciła na nią uwagę, a gazety kolportowały po świecie wieść o niezwykłym jej talencie. Trąba reklamy, w którą następnie zręcznie zadął impressario, uczyniła także swoje i dzisiaj owa „Leosia“ grająca dawniej w perkalowych sukienkach role naiwnych — prócz sławy, willi w Mediolanie, pałacu ongi Desdemony w Wenecyi, prócz 160 (sic!) cennych kostyumów posiada i gotówkę, której suma ozdobiona jest podobno kilku zerami przed i poza przecinkiem matematycznym. Szczęśliwy zwrot w życiu swoim zawdzięcza artystka dramatowi „Cavaleria rusticana“, o czem później, dalsze sukcesa odniosła podczas turnée odbytego po Hiszpanii i południowej Ameryce, a powróciwszy ztamtąd i otoczona już aureolą genialnej artystki, w Petersburgu święciła tryumfy. Tutaj poznał ją krytyk wiedeński Herman Bahr i po długich naleganiach, prośbach i pertraktacyach, zdołał ją nareszcie nakłonić do występu przed niemiecką publicznością. Było to przed pięciu laty, a Duse ukazała się wówczas we Wiedniu w roli Damy kameliowej.

W utworach klasycznych, jak to czyni nasza Modrzejewska, Duse nie występuje wcale, będąc tego mniemania, że utwory klasyczne tegoczesną publiczność mało zajmują. Jej zdaniem, nawet Shakespeare nie działa już jak dawniej na nerwy publiczności, której smak estetyczny z czasem się wykształcił. I dla tego c z y t a wszystkie klasyczne utwory, mianowicie dramatyczne, nie występuje w nich jednak, będąc — jak sama się wyraziła — nietylko artystką, ale poza sceną i kupcową.

W Kolonii zabawiła Duse dwa dni tylko i na pierwszy występ wybrała wypieszczoną przez siebie rolę Małgorzaty Gautier w Dumasowskiej „Damie kameliowej“. Teatr, mimo podwyższonych cen, wypełniony był po brzegi, a przed gmachem teatralnym ciągnął się nieskończony szereg karet i powozów. Przedstawienia odbywały się po południu. Treść Dumasowskiego utworu nadto znana, ażebym dla zrozumienia sytuacyi, osnowę jego przytaczać potrzebował. Rolę Małgorzaty pojęła Duse odmiennie, niż zwykle na scenie się widzi, i właśnie to odmienne, to niezwykłe, niespodziewane pojęcie roli zadziwiło krytyków, przywykłych oglądać Damę kameliową jako paryzką kokotę, damę demimondu, błyszczącą wytwornym strojem i okazałym komfortem otoczenia. Duse ilością złotych ozdób nie podnosi wartości swej osoby i efekta kostyumowe stawia na ostatnim planie, za to gra sama; umiejętne pojęcie sytuacyi i charakteru przedstawianej osoby, wniknięcie w jej myśli, uczynki i ich następstwa, stanowią fundament jej powodzenia. Realizm, z jakim Duse odtwarza przedstawione postacie jest prawdziwie podziwienia godnym. W ruchach jej nie ma nic wymuszonego, w głosie nie dosłyszysz deklamatorskiej emfazy lub wyszrubowanego cieniowania i dla tego właśnie gra jej z fotograficzną dokładnością odzwierciadla życie i ludzi, uwydatnia najwyraźniej stan wewnętrzny duszy, widać, czuć, że artystka wżyła się zupełnie w przedstawioną rolę, że na scenie jest tylko osobą wymienioną na afiszu, razem z nią raduje się lub boleje, serca ich jednem biją tętnem, myśli ich jednym szybują szlakiem.

To znakomite pojęcie roli, zrównane niemal z samą rzeczywistością, stanowi główną zaletę gry włoskiej artystki. Jej miny, jej gesty, jej pozy, wyzyskanie artystycznych sytuacyi i momentów z kupiecką skrupulatnością, nadto mistrzowska umiejętność w obrotach rękami — notabene ślicznemi — również nie małe stanowią akcesorya jej powodzenia. Nikt też lepiej od niej nie uwydatnia słów poety, nikt lepiej nie przedstawia danej bohaterki. Życzyćby należało, żeby i artystki naszej narodowej sceny więcej na podobne „drobnostki“ zwracały uwagi. Wysoka a wyrobiona skala jej uczucia, długą praktyką podniesiona intuicya, za pomocą której z najmniejszej chociażby sumy rozumowań, umie wyciągnąć cały bukiet wniosków i przeczuć naturalne konsekwencye, nadają jej grze ten niepospolity realizm, walczący o lepsze z życiem na scenie.

Scenicznie dojrzała umie obrachować ton głosu, któryby najodpowiedniej odmalował stan jej duszy, któryby najsilniejszem echem odbił się w sercach słuchaczy, umie z bogatej skarbnicy mimiki i gestów wybrać najstosowniejszy do sytuacyi, podkreślić nim szczegóły, zwrócić nim uwagę publiczności. To też gry takiej nie zapomina się łatwo i oczyma mej duszy widzę tę Dusę w roli Małgorzaty, którą przedstawiała jako cierpiącą grzesznicę, nie posiadającą siły oprzeć się stosunkom, jakiemi ją skrępowało życie, zejść z drogi, na którą popchnęły ją okoliczności. Myśli jej odczuć było można, widząc tylko te z życiową prawdą wykonane charakterystyczne poruszenia jej ciała, to pieszczotliwe przechylanie głowy, lub to zmarszczkami przysępione czoło. Widz, mając przed sobą taką artystkę, mimowoli przejmuje się jej grą mistrzowską, głos wewnętrzny szepce mu do ucha, że rzeczywista postać utworu poety tylko tak wyglądać, czuć, tak mówić i poruszać się mogła, i cóż dziwnego, że zachwycony rzadkiem podchwyceniem prawdy, bije brawa zanim jeszcze kurtyna zapada?

Na drugie przedstawienie wybrała Duse „Cavalleria rusticana“ i Goldoniego „La Locandiera“, dzięki czemu krytyk mógł podpatrzeć artystkę w poważnej i wesołej roli i wyrobić sobie o zaletach jej gry tem dokładniejszy sąd. Treść „Cavallerii“, jednego z najkrótszych zapewne dramacików, rozpowszechnioną dopiero została operową przeróbką Mascagniego. Publiczność znając ostatnią, tem chętniej przybyła oglądać oryginał. Jednoaktowy dramacik ten wywarł wielki wpływ na losy Eleonory Duse, a i autor należał tu do owych szczęśliwców, którym wypadki sprzyjają, bo znowu gdyby nie Duse, to zagasnęłaby pamięć i o nim i o jego dramacie, który prawdopodobnie nie byłby nawet ujrzał światła kinkietów.

---

nie podziałały na Nikitę. Ściągnął brwi, strzepnął śnieg z czapki i kaftana, podszedł do obrazów i jakby nikogo w izbie nie widział, przeżegnał się trzykrotnie i trzykrotnie obrazom pokłonił, poczem zwracając się do starego gospodarza, pokłonił się i jemu, dalej wszystkim siedzącym za stołem i kobietom, a potem cofnął się do pieca ze słowami:

— Winszuję świąt! — i zaczął się rozbierać, nie patrząc na stół.

— Ależ ubielił cię mróz, stryjku — zauważył najstarszy syn, rzucając okiem na pokrytą szronem brodę, rzęsy brwi, a nawet całą twarz Nikity.

Nikita ściągnął długi swój kaftan, jeszcze raz go strzepnął, powiesił przy piecu i zbliżył się do stołu. Zaproponowano i jemu także wódki. Chwilę trwała bolesna walka, już miał wyciągnąć rękę i wlać sobie w usta aromatyczny, przezjrzysty płyn, ale spojrzał na Brechunowa, przypomniał sobie uczyniony ślub, i buty przepite, i bednarza i syna wyrostka, któremu obiecywał kupić konia na wiosnę, przypomniał sobie to wszystko — westchnął i — odmówił.

— Nie piję, pokornie dziękuję — powiedział ponuro i usiadł na ławce pod oknem.

— Czemuż to? — zapytał starszy syn.

— Nie piję i tyle — powtórzył Nikita, nie podnosząc oczu, a kosząc je na swoją brodę i wąsy, z których zdejmował sople lodowe.

— On pić nie powinien — zauważył Brechunow, zagryzając wypitą wódkę obwarzankiem.

— Ano, to przynajmniej herbaty — mówiła uprzejma staruszka — przemarzłeś zapewne do szpiku kości, serdeczny. A cóż wy tam z samowarem tak się gmeracie?

— Już kipi — odparła synowa i unosząc z wysiłkiem pryskający wrzącą wodą samowar, postawiła go z głośnem stuknięciem na stół.

Brechunow opowiadał tymczasem, jak błądzili, wracając dwukrotnie do tej samej wsi i jak spotkali w drodze pijanych. Słuchacze dziwili się, tłomaczyli w jakiem miejscu i dla czego zboczyli z drogi, domyślali się co to za jedni mogli być owi pijani, dawali wskazówki, jak należało jechać.

Stąd do Małczanówki małe nawet dziecko trafi, byle tylko skręcić we właściwem miejscu z gościńca, a wyście zbłądzili! — dziwił się wójt.

— A najlepiejby było nocować. Kobiety pościelą — zapraszała staruszka.

— Rankiem pojechalibyście dalej, takby najdogodniej było — przytakiwał stary.

— Nie mogę bracie. Sprawa pilna — tłomaczył Brechunow. — O godzinę spóźnisz, a potem przez rok straty stąd wynikłej nie wynagrodzisz — dorzucił, przypominając sobie lud i miejskich handlarzy drzewa, którzy mogli mu zdmuchnąć korzystny interes. — Wszak dojedziemy, co? — zwrócił się z zapytaniem do Nikity.

Nikita nie odpowiadał przez długą chwilę, niby pogrążony w zdejmowaniu sopli lodowych z wąsów i brody.

— Byle tylko znowu nie zbłądzić — odparł w końcu ponuro. Ponurość Nikity wypływała z namiętnego pożądania wódki. Jedynym środkiem, którym mógł stłumić to pożądanie, była herbata, a tej dotąd mu nie podawano.

— Wszak byle do zakrętu dojechać, a dalej nie zbłądzisz, bo droga lasem do samego Goriaczkina prowadzi — upierał się Brechunow.

— Wasza rzecz, gospodarzu, chcecie koniecznie jechać, więc jedźmy — odrzekł Nikita, biorąc podaną mu szklankę herbaty.

— Napijemy się herbaty i dalej w drogę! — zawyrokował Brechunow,

Nikita potrząsnął milcząco głową, wylał ostrożnie herbatę na miseczkę i grzał skostniałe ręce nad parą. Poczem odgryzł okruszynę cukru i kłaniając się gospodarzom rzekł:

— Za wasze zdrowie! i przytknął usta do ogrzewającego napoju.

— Gdyby tak odprowadził nas kto do zakrętu — bąknął Brechunow,

— A dla czegożby nie? — odparł starszy syn — Pietrek zaprzągnie konia i będzie wam towarzyszył.

— Jeżeli tak, to zaprzęgaj, bracie, a ja nie zapomnę ci podziękować.

Rzecz miała się tak. Roku 1880 należała Duse do trupy Cesarego Rossi w Turynie i grywała drugorzędne role naiwnych. Rossi przygotowywał w tym czasie wystawę wspomnianej już „Cavallerii“, lecz aktorzy mieli jeszcze podczas ostatnich prób tyle trudności do zwalczenia, że rozmyślano już nad tem, czy nie lepiej byłoby odesłać autorowi manuskrypt i zaniechać sztuki, która zdawała się nie kwalifikować na scenę. Gdy do tego zachorowała jeszcze przedstawicielka Santuzzy, postanowiono ostatecznie zaniechać przedstawienia, a publiczność innym uszczęśliwić dramatem. Dyrektor był w kłopocie, autor rwał sobie włosy ze wstydu nad niepowodzeniem, ale Duse rozwiała im troskę z czoła, prosząc, żeby rolę Santuzzy jej powierzono. Uradowany autor klękał podobno przed artystką, dyrektor natomiast, mający już poza sobą i zachwyty młodzieńcze i niejedno gorzkie doświadczenie, nie dowierzał początkowo siłom Dusy. Ponieważ czas jednak naglił, dał się nakłonić. Duse objęła tegoż wieczora rolę chorej koleżanki i odegrała ją z taką werwą, takiem uczuciem i prawdą, że od razu podbiła sobie widzów i zwróciła na siebie uwagę poważnej krytyki, która ukorzyła się przed talentem młodej wówczas artystki. Jeden ten wieczór stanowił o jej losie i odtąd powodzenie towarzyszyło jej występom i tryumf odnosiła po tryumfie, powiększając rozgłos swej sławy.

W dramacie Vergasa, przyciętem następnie odpowiednio do wymagań kompozytora opery, występuje więcej osób, niż Mascagni mógł potrzebować; biorą tam udział nieznane nam postacie kowala Brasi, starego Donżuana, handlarki jaj Pipuzzy, jej sąsiadek z buzi podobnych do naszych przekupek i inne jeszcze figury. Nie piszę tu oceny sztuki i ensemble'u i dla tego ograniczyć się muszę na kilku szczegółach o roli Santuzzy w interpretacyi Eleonory Duse. Charakterystykę artystki śmiało nazwać można niezrównaną. Pobladła twarz i jakiś ponury, rozpaczliwy wyraz Santuzzy świadczyły o nocach spędzonych wśród łez i załamywaniu rąk, puch dziewiczości starty z całej postaci budził współczucie dla tej biednej istoty, porzuconej przez niewiernego kochanka, walka wewnętrzna, jaką w jej duszy miłość z zemstą toczyła, była dla każdego widoczną i zrozumiałą. Zachowanie się Santuzzy znamionował nerwowy niepokój, z jej bojaźliwych i wstydliwych spojrzeń padał wyraz trwogi i wyrzutu, głos jej, w którym drgały jęki i łzy ludzkie, przebiegał całą skalę uczuć i namiętności. Publiczność z rzadkiem zaciekawieniem towarzyszyła psychologicznemu rozwojowi stanu jej duszy. Widać było jak artystka wznosi się po drabinie uczuć, coraz wyżej, coraz niebezpieczniej, aż stanęła na ostatnim chwiejnym szczeblu. Publiczności zamierał dech w piersiach i „duszą i ciałem“ była z artystką; znakomitą swą grą porwała Duse wszystkich i nikt od jej postaci oczu nie mógł oderwać, gdy całą gamą boleści od pianissimo skargi, aż do forte wybuchu rozpaczy odzwierciedliła zrozpaczony stan duszy kobiecej.

To też, gdy zapadła kurtyna, przejęta publiczność nie poważyła się początkowo czczym oklaskiem nagrodzić artystki i dopiero po chwili, gdy widzowie przetarli zdumione oczy i poznali, że teatr nie scenę świata mają przed sobą, zerwała się szalona burza braw frenetycznych, a artystkę zasypano kwiatami. Tegoż wieczora jeszcze wystąpiła Duse w komedyi Goldoniego „la Locandiera“ (gospodyni). Błaha treść sztuki równa się zeru. Główną rolę odgrywa tu młoda gosposia, która przywykłszy do hołdów swych gości, gdy napotkała pierwszego mężczyznę, który nie dał się podbić jej uroczą kokieteryą — wszystko stawia na kartę, żeby rozbudzić w nim miłość, lecz doprowadziwszy go do tego, że po uszy zakochany oświadcza się o jej rękę, zmienia front, zrzuca maskę z twarzy i pada w ramiona własnego garsona, z którym idzie na ślubny kobierzec. Z roli swej stworzyła artystka nadzwyczaj milutką rokoko figurkę i widząc ją wówczas dreptającą po scenie i bawiącą się fartuszkiem, widząc jej łechtającą kokieteryą, jej lekkomyślność, wesołość, żywość — nikt nie byłby przeczuwał, że dziś, gdy niżej podpisany słowa te kreśli, sławna artystka chora w Medyolanie poddać się musi niebezpiecznej operacyi. I tu w komedyi jak poprzednio w dramacie, Duse okazała się artyską „z łaski bożej“, a żegnana przez publiczność, zwróciła się do niej ze słowami, które na zakończenie „Locandiery“ właściwie do odpalonych konkurentów się odnosiły:

Cieszy mnie, że panowie mi nie złorzeczycie,
Że miłą pamięć zachować mi chcecie,
Inaczej smutnem byłoby me życie.

Ze gra odbywała się w języku włoskim, o tem na początku zdawało mi się zbytecznem wspominać; malownicze kostyumy artystki rysuje podobno mąż jej, który z zawodu jest malarzem. Trupa cała składa się z uzdolnionych dzieci Melpomeny, które dobrze wychowane gry nie psuły, ale owszem w odpowiednio rozebranych rolach nadawały jej jednolitość i zaokrąglenie.

Jest jedna gwiazdka w otoczeniu Dusy, która za lat kilka stanie się może gwiazdą wspaniałą.

Witold Leitgeber.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Uderz ale słuchaj!

Gruntowne badanie naszych poznańskich stosunków doprowadza nieuchronnie każdy umysł bezstronny do pesymistycznych wniosków, a każde szczerze patryotyczne serce goryczą zalewa.

Na nic się nie zdadzą skargi nieustanne na ucisk i przemoc, na nic głośne protesty przeciw gnębiącemu nas systemowi — bezsilni jesteśmy nietylko wobec rządu opartego na przewadze fizycznej — co gorsza — w rodzinie europejskich ludów wartość nasza maleje z dniem każdym. Do ogólnej skarbnicy dóbr narodowych nie dorzuca zabór pruski już od dość dawna żadnego na własnym warsztacie wypracowanego dzieła, żadnej nowej myśli — żadnego cywilizacyjnego nabytku. Nie dość na tem, — to, co rodacy nasi wytworzyli mozolnie mimo walk i przeszkód w pracowni ducha swego — ożywcze prądy zdrowej, świeżej krwi, które z serca Polski przyspieszonem tętnem do najodleglejszych jej napływają dzielnic — u nas mają wstęp stanowczo wzbroniony. — Zachwyceni własną umysłową ciasnotą, zasklepieni w maleńkim widnokręgu naszego dzielnego? skami zabitego prowincyonalnego światka, nie łączymy się z żadnym swoim czy obcym umysłowym ruchem, zaprowadzamy ścisłą cenzurę na wszelkie nowe kierunki, odrzekamy się jak czarta wszelkiego postępu i rozwoju — rozmyślnie pogrążając się w duchowej pleśni i moralnej zgniliźnie. — I podczas, gdy w świecie cywilizowanym ruch myśli odbywa się w coraz szybszem tempie, podczas, gdy Europę przepływają świeże, szerokie prądy czystego powietrza i światła, które w niej wciąż nowe życie budzą i wciąż nowe siły powołują do cywilizacyjnej pracy ludzkości, — gdy nawet kwarantanną rosyjskiej cenzury odgrodzona od świata Warszawa czerpie z tej skarbnicy myśli coraz nowe pierwiastki duchowego życia — my w ciasnej, ciemnej celi zamknięci, ryglujemy drzwi i okna, by bez przeszkody tonąć coraz głębiej w śnie letargicznym.

Najwymowniejszym dowodem prawdziwości tego twierdzenia jest fakt, że każda krytyka panujących u nas poglądów przyjmowana bywa stale okrzykami oburzenia. — Tylko krytyka sumienna i surowa do jakiejkolwiek reformy

---

— Co znowu, sąsiedzie! — zawołała uprzejma staruszka — z całego serca gotowi jesteśmy wam usłużyć.

— Pietrek, biegnij konika zaprzęgać!

— Czemu nie! — zawołał uśmiechnięty Pietrek, zdjął czapkę z gwoździa i wyleciał z izby.

Rozmowa wróciła do przedmiotu, o którym się toczyła przed zjawieniem Brechunowa. Stary ojciec żalił się przed wójtem na trzeciego syna, który mu nic nie przysłał na święto, podczas gdy żonę swoją obdarzył chustką francuskiego wyrobu.

— Zepsucie szerzy się coraz bardziej między młodem pokoleniem — skarżył się stary.

Oh i jak! — zgodził się wojt. — Rady sobie dać z nimi nie można. Zanadto zmądrzeli. Weźmijmy dla przykładu choćby Dominika, co ojcu rękę złamał. A wszystko to z wielkiego, jak widać, rozumu.

Nikita przysłuchiwał się uważnie rozmowie, spoglądał po obecnych, radby był i sam wtrącić słówko, ale picie herbaty zanadto go pochłaniało, głową więc jeno potakująco kiwał. Opróżniał jedną szklankę po drugiej i było mu coraz cieplej i coraz milej na sercu.

Rozmowa toczyła się tymczasem o szkodliwych skutkach podziału gruntów. Znać było, że chodziło tu nie o zasadę oderwaną, ale o podział, który groził tej chacie, a którego domagał się młodszy syn, siedzący teraz w ponurem milczeniu za stołem. Paląca ta kwestya obchodziła widocznie jak najżywiej wszystkich domowników i jedynie poczucie przyzwoitości nie pozwalało im rozstrzygać spraw osobistych w obecności gości. Ale stary nie potrafił dłużej panować nad sobą i drżącym od łez głosem zawołał w końcu, że dopóki on żyje, dopóty na podział nie pozwoli, że teraz dziękować Bogu, nie źle się im dzieje, ale jak się podzielą, z torbami wszyscy pójdą.

— Jak u Mateuszów naprzykład — dorzucił wójt. — Dom był zamożny, dopókąd się nie dzielili, a teraz każdy z nich figę ma w kieszeni!

— I ty starasz się widocznie o to samo — zwrócił się stary ojciec do syna z wyrzutem.

Syn nie zdobył się na odpowiedź i w izbie zapanowało kłopotliwe milczenie. Przerwał je Pietrek, oświadczając ze zwykłym sobie uśmiechem, że koń już gotów,

— A więc jazda! — zawołał Brechunow.

Nikita wysączył właśnie piątą szklankę, ale nie przewracał jej dnem do góry, że pić więcej nie będzie, lecz bokiem położył w nadziei, że jeszcze szóstą dostanie. W samowarze jednak zabrakło już wody i gospodyni mu nie nalewała, a tymczasem i Brechunow ubierać się zaczął. Nadzieja na szóstą szklankę zgasła niepowrotnie. Nikita wstał, odrzucił wedle zwyczaju do cukiernicy nadgryziony ze wszystkich stron kawałek cukru, otarł spoconą twarz połą ubrania i poszedł wdziewać kaftan.

Ubrał się, westchnął głęboko, podziękował gospodarzom, żegnając ich zarazem i wyszedł z ciepłej, jasnej izby do sieni zimnych, ciemnych, huczących od wrywającego się do wnętrza wiatru, zasypanych śniegiem przez szpary drzwi, a stamtąd na ciemne podwórze.

Pietrek stał ubrany w kożuch przy swoich saniach pośrodku dziedzińca i uśmiechając się, recytował wiersze z Paulsona- „Burza mgłami niebo kryje, tumanami śniegu miecie; to jak zwierzę tak zawyje, to zapłacze niby dziecię“.*) Nikita kiwał potakująco głową, rozplątując lejce.

Stary gospodarz, odprowadzając Brechunowa, wyszedł z latarnią do sieni, ale wiatr natychmiast światło zagasił. Nawet w podwórku znać było, że zamieć rozszalała się na dobre.

— To mi dopiero psi czas! — pomyślał Brechunow. — Trudno będzie, naprawdę, dojechać, ale zostać nie mogę, interes pilny. Wybrałem się już zresztą. Koń gospodarski zaprzężony. Dojedziemy, da Bóg!

*) Ustęp z poezyi Puszkina, powtarzającej się we wszystkich czytankach dla szkół ludowych. (P. tłum.)

(Ciąg dalszy nastąpi).

doprowadzić może. Jest ona pierwszym krokiem, koniecznym warunkiem doskonalenia się — u nas zaś nie istnieje wcale — jest wyklęta i na wieczną banicyą skazana.

Jak zabójczym jest ten brak krytyki w życiu społecznem i politycznem, wykazywałam już dawniej mówiąc o etyce dziennikarskiej. Twierdziłam, że z zaciętym konserwatyzmem naszym idzie w parze zupełny zanik sumienia publicznego, którego wyrazem jest w każdem społeczeństwie sumienne i gorliwe poszukiwanie prawdy.

Ten sam smutny objaw, który zaznaczałam w naszem życiu publicznem, uderza boleśnie na polach nauki, literatury i sztuki, — ktore dzięki temu zupełnie odłogiem u nas leżą.

I tu, jak w życiu społecznem prawda jest dla nas rzeczą obojętną: obrona własnych przekonań, wiara we własne słowa, dążenie do wyrobienia sobie jasnego pojęcia o rzeczy i uczciwość, nakazująca publicznie głosić to, w co się wierzy osobiście, — to zjawisko dla nas nieznane i niezrozumiałe — tak dalece, że zamiast uznania i szacunku na potępienie i na prześladowanie narażają. — Słowa nie służą u nas do wyrażania, lecz do ukrywania myśli — tak jak rozum nie służy do poznawania prawdy, lecz do fałszowania jej i przekręcania.

W każdem społeczeństwie ludzkiem istnieje niewiadomość i umysłowa miernota; jestto złe konieczne, którego żadna potęga ziemska nie wypleni z pośród ludzkości, — ale tylko u nas, tylko na poznańskiej ziemi, zamiast nieśmiałej, upokorzonej helotki jest ona wszechwładna królową i panią, tylko u nas podnosi ona głowę do góry i woła: „na kolana przedemną, bo ja rządzę“.

Cały zapas wiedzy, którym zadawalnia się społeczeństwo nasze, zawiera się w podręcznikach szkolnych, i ten nawet zapas ceni się jedynie jako środek do zdobycia dyplomu i kawałka chleba. — Na pewno twierdzić można, że gdyby teorya Kopernika nie była uzyskała już przed wielu laty sankcyi oficyalnych gimnazyalnych programów, — autor jej do dziś dnia w Poznaniu uchodziłby za herezyarchę, nowatora, masona, i t. d.

Zamiłowanie do nauki i zainteresowanie się jej zagadnieniami nigdzie jednak z u p e ł n i e ogólnem być nie może i wszędzie jest udziałem mniej lub więcej licznych inteligentnych mniejszości. Najbardziej rozpowszechnioną i najulubieńszą strawę umysłową ogółu stanowi wszędzie literatura piękna, i ona też dzięki temu staje się ważnym czynnikiem umysłowego i moralnego rozwoju społeczeństw, bezpośrednio działając na ukształtowanie pojęć i uczuć narodu.

Nie możnaby nam z tego zbyt ciężkiego robić zarzutu, że nie wytworzyliśmy własnego poznańskiego piśmiennictwa, że nie mamy licznego zastępu poetów, powieściopisarzy, dramaturgów. — Literatura jest własnością narodu, a choć uderzać musi mały współudział naszej dzielnicy w pracy około zwiększania duchowego dorobku kraju, — zjawisko to możnaby różnemi warunkami tłomaczyć i usprawiedliwić. Co jednak bezwarunkowo ani wytłomaczyć ani usprawiedliwić się nie da, to zupełny brak estetycznego smaku i samodzielnych literackich poglądów w naszem społeczeństwie. Względem piękna zachowujemy tę samą obojętność, co względem prawdy; nie dbamy o nie, nie szukamy go, a pojęcia estetyczne u większości naszej inteligencyi nie wiele się różnią od pojęć estetycznych tej ludności stolicy, która jej poddasza i suteryny zajmuje. — Z warszawskich tygodników np. najbardziej rozpowszechnioną jest u nas „Biesiada literacka“, pisemko oddające zresztą wielkie usługi społeczeństwu rosyjskiego zaboru, gdyż stanowi zdrowy i strawny pokram dla umysłów niewykształconych i niezamożnych czytelników.

Gdybyż zresztą nasze petrzeby umysłowe były tylko skromne, a nasze pojęcia estetyczne niewyrafinowane — nie byłoby potrzeby rozpaczać. Świadczyłoby to o nizkim stopniu naszego umysłowego rozwoju, lecz nie zagradzałoby drogi do wstąpienia na wyższe szczeble. Niestety, przeważnie pojęcia nasze w tym kierunku są wprost fałszywe, a smak spaczony i tu znów winić należy prasę i jedynie prasę. — Krytyka literacka stanowi zwykle dla publiczności szkołę, która kształci jej estetyczne pojęcia i na właściwą wprowadza je drogę. — Zadaniem jej jest dany utwór literatury lub sztuki scharakteryzować, podkreślić jego rysy znamienne, wykazać błędy lub zalety, słowem oświetlić go właściwie i publiczności ocenienie jego ułatwić. Objektywna ktytyka jestto taka, której za podstawę służy dzieło samo, jego zalety i wady, — nie zaś osobistość autora, jego polityczne przekonania lub nawet kierunek literacki przez niego wyznawany. — U nas jednak objektywizm pojmuje się inaczej, — zasadza się on na mieszaninie pochwał i nagan, komplementów i nauk, w proporcyach rozmaitych, to prawda, lecz bynajmniej nie zawarunkowanych wartością danego dzieła. Pochwały wypowiada krytyk przez uprzejmość dla autora, nagany dla utrzymania własnej powagi i opinii swego znawstwa. Gorące uznanie, szczery poklask nie przystoi naszym zoilom, również nie odpowiada ich pojęciom nazywanie rzeczy po imieniu tj. ramoty — ramotą, lub arcydzieła arcydziełem. Gdyby dziś u nas w Poznaniu z pierwszemi płodami swego pióra debiutowali równocześnie Rozbicki i Mickiewicz, krytyki ich utworów w pismach naszych wypadłyby niezbyt odmienne — jednemu i drugiemu przyznanoby trochę talentu, jeden i drugi usłyszałby kilka nauczek tonem mentorskim wypowiedzianych. To się u nas nazywa krytyką bezstronną i uczciwą.

Dla tego też jestto prawdziwem nieszczęściem dla autorów, jeśli na pierwszy ogień krytyki prace swe wystawiają w Poznaniu. — Atmosfera moralnej i umysłowej nicości sprzyja wybujałemu rozwojowi miernot, a zabija istotne talenty. Można powiedzieć nawet, że dla miernoty literackiej stworzono u nas system protekcyjny.

Wszystko, co znamię wyższości nosi, co po nad ów łokieć poznański wyrasta, znienawidzonem jest i prześladowanem wszelkiemi dozwolonemi czy niedozwolonemi środkami.

W tych rzeczach poznańska krytyka nie krępuje się ani prawidłami estetycznemi, ani żadnym względem moralnym, ani głosem własnego sumienia. Ostatnie czasy dostarczyły jaskrawych dowodów, potwierdzających to spostrzeżenie. Wystawiono dramat autora miejscowego; samo nazwisko ściągnęło licznych widzów, przeważnie zresztą niekorzystnie uprzedzonych. Taką jednak jest potęga talentu, że w obec utworu, napisanego z siłą dramatyczną i natchnieniem, zgodnie z prawdą życiową, publiczność, której zdrowych instynktów i szlachetniejszych porywów bezwzględnie odmówić nie można, doznała głębokiego wzruszenia i niedwuznacznie wyraziła swe zadowolenie. Krytyka postarała się ochłodzić ten zapał. Jedni dla utrzymania swej powagi, inni przez niechęć stronniczą, niektórzy wreszcie pod wpływem nizkiej zawiści, mozolnie wyszukiwali plamy i usterki i wydobyli na jaw tyle zarzutów, na ile tylko ich pomysłowość starczyła. Nie dość na tem; nie zadawalniając się tryumfem z pognębienia talentu, noszącego tak znienawidzoną cechę wyższości, sieć swych intryg rozciągnęli dalej i wysłali, lubo bezskutecznie, ostrzeżenia przed ideowym charakterem sztuki do zamiejscowych teatralnych dyrekcyi, obawiając się zapewne, by przychylne przyjęcie dramatu na innych scenach nie zdemaskowało ich złej woli lub ignorancyi. Oto jeden fakt, dość wymowny, aby go bez komentarzy rzucić w twarz tylu, którzy pod osłoną sztucznej powagi społeczeństwo zatruwają jadem najniższych instynktów.

Wkrótce potem wystawiano drugi dramat: autorem był również Wielkopolanin. Jeżeli mówię „d r a m a t“ nie znaczy to wcale, by utwór na nazwę tę zasługiwał. Publiczność na razie nie wiedziała sama co myśleć o szeregu scen, nie połączonych żadnym logicznym węzłem, żadną konsekwentną myślą. Nastrój ogólny był przygnębiający; niejeden pozostał w teatrze jedynie przez uprzejmość dla autora. Dopiero ku końcowi sztuki twarze ożywiły się wrażeniem wprost przeciwnem temu, które dramaturg osięgnąć zamierzał — tj. im większe klęski i nieszczęścia spadały na bohaterów, tem większa wesołość panowała w teatrze i to tak dalece, że piątego aktu wysłuchano wśród śmiechu (sic), żartów i złośliwych uwag. Przy wyjściu z teatru nie słyszano ani jednej pochwały. Inteligentniejsze jednostki były wprost zgorszone, a dziennikarze i krytycy przesadzali się wzajemnie w ostrych dowcipach. Najbliżsi przyjaciele autora unikali go, niezdolni chwalić wbrew przekonaniu, a nie chcąc ranić jego miłości własnej zbyt ostrą naganą. Lecz oto po dniach paru ukazują się w pismach poznańskich dziwnie pochlebne recenzye. Sprawozdawcy przyznają autorowi piękną tendencyę, niektórzy tylko przyznają mu „naiwną oryginalność pomysłu“, na co zresztą zgodzić by się można, jeśli naiwność ma być u pisarza dramatycznego zaletą.

Jeden z krytyków, zainterpelowany przez znajomych, czemu chwali sztukę wbrew przekonaniu, powiada: „Cóż wam to szkodzi? ucieszy się, napisze jeszcze „weselszy“ dramat i jeszcze lepiej się zabawimy.“ (sic!) To się nazywa u nas uczciwą i bezstronną krytyką!

Wolno krytykom nie krępować się tą lub ową szkołą, nie wzorować swych sądów na dawnych czy nowych prawidłach, ulegać wrażeniom subjektywnym i pod wpływem wrażeń szczerze wyznać zachwyt lub niesmak. Czego jednak bezwarunkowo nie wolno, co stanowi plamę każdego literackiego nazwiska i brudzi pióro ludzi piśmiennictwem się trudniących — to ś w i a d o m e fałszowanie prawdy, wprowadzanie opinii publicznej na manowce, dobrowolne ogłupianie społeczeństwa i wypowiadanie sądów, z których sami się śmieją.

Publiczność nasza ma czasem zdrowe instynkta i smak nie ze wszystkiem zepsuty, nie ma jednak dość artystycznego wykształcenia, odwagi i samodzielności, aby podnieść śmiały protest przeciw nieuczciwym wybrykom prasy i wbrew jej woli otoczyć uznaniem talent, a napiętnować niedołęztwo.

Recenzye stronnicze niekiedy zdarzają sie wszędzie, nie są one jednak regułą lecz wyjątkiem i dla tego w ostatecznym razie służy autorowi apelacya do sądu publiczności, której smak wyrobiony chroni prawdziwy talent przed intrygą i zawiścią. Tak naprzykład w Warszawie publiczność utrzymała na repertuarze i uznaniem otoczyła „Gniazdo rodzinne“ Sudermanna, zrazu przez sprawozdawców najpoczytniejszych (choć nienajpoważniejszych) pism od głębszej odsądzone wartości.

Sąd publiczności okazał się zgodnym z sądem europejskiej krytyki, a recenzenci zmuszeni zostali do kapitulacyi. U nas jednak fakt taki jest niemożliwym. Zdrowy smak i szczerze artystyczne poczucie dzielą w Poznańskiem los nauki: pogardą zdeptane oddawna już poszły w poniewierkę i lękliwie kryją się na uboczu, nie śmiejąc głowy na światło dzienne wychylić. W ich miejscu panoszą się ignorancya i barbarzyństwo — dochodząc do niesłychanej bezczelności. Przez nieuczciwą gospodarkę krytyki i prasy obałamucane społeczeństwo zatraca stopniowo wszelkie wyższe i szlachetniejsze instynkty i dążności, przytępia w sobie wrażliwość na wszystko, co dobre i piękne, sprawiedliwe i rozumne, cierpliwie słucha najbardziej krzyczących nonsensów i bez zmarszczenia czoła czyta największe estetyczne herezye.

Ludzie wyższemi obdarzeni aspiracyami, przez los nieszczęsny umieszczeni w tem poznańskiem bagienku, w którem żyć i rozwijać się może to tylko, co pełza — a to, co ma skrzydła do lotu, na zagładę skazane być musi — powinni na swą pociechę odczytywać często te słowa Nietzchego: *„Gdy spoczywałem we śnie, przyszła owca i zjadła mój wieniec wawrzynu i rzekła: „Zarathustra nie jest już uczonym“. To rzekłszy dumna odeszła.*

I oto dla owiec nie jestem już uczonym; tak chce moje przeznaczenie i niechaj będzie błogosławione!“

Iza Moszczeńska.

KRONIKA GALICYJSKA.

(Święto robotnicze. Akademia umiejętności. Gimnazyum żeńskie we Lwowie. Reformy p. Bilińskiego. Nasze filantropki. Dar Pruszkowskiego. Składki na Wawel.)

Miesiąc maj stał się u nas miesiącem socyalistów i Akademii Umiejętności. Pierwszy maja jest świętem robotników, zatrudnionych pracą ręczną, trzeci maja robotników zajętych pracą umysłową.

Władze dowiedziały się nareszcie w tym roku, o czem dawno wiedzieli zwykli śmiertelnicy, tak zwani dziennikarze. Pisali oni mianowicie oddawna, że chcąc uniknąć zajść i rozruchów przy zebraniach robotniczych, najlepiej jest nie prowokować ich przez nadzwyczajne środki ostrożności, nie wmawiać w robotników, że każde ich zebranie jest groźnem niebezpieczeństwem dla społeczeństwa i państwa, nie występować przeciw paru tysiącom czerwonych kokardek ze setkami manlicherów. Jak powiadam władze nareszcie to zrozumiały, a więc nie zaprowadzono pierwszego maja rodzaju stanu oblężenia, nie widziano we Lwowie i Krakowie broni ustawionej w kozły, i gdyby nie czerwone plakaty, ogłaszające o zgromadzeniach ludowych, niejeden spokojny obywatel nie wiedziałby nawet, iż burzliwe żywioły obradują nad przewróceniem do góry nogami porządku społecznego. Tak we Lwowie jak i Krakowie zgromadzenia robotnicze odbyły się pod gołem niebem: w pierwszem z tych miast na placu Franciszkańskim obok koszar wojskowych, a w Krakowie w ogrodzie hotelu Londyńskiego na Stradomiu. Na obu zebraniach uchwalono ośmiogodzinny dzień pracy i powszechne wybory. Co do tych ostatnich zapewniał w Krakowie p. Daszyński, że cesarz pod tym względem jest jednej myśli z robotnikami. We Lwowie, jak widzę ze sprawozdań, uchwalono jeszcze wiele innych rzeczy jak zniesienie koszar, stałej armii, loteryi, za czem wszystkiem z przyjemnością głosowaliby nietylko sami socyaliści, gdyby wiedzieli, że głos ich nie pozostanie głosem wołającego na puszczy.

Doroczne publiczne posiedzenie Akademii Umiejętności miało formy steorytypowe, co zresztą inaczej być nie może. Były minister skarbu JE. Dunajewski, jako zastępca protektora Akademii arcyksięcia Karola Ludwika, zagaił posiedzenie oddaniem hołdu członkom instytucyi za ich prace, posuwające naprzód naukę i umiejętności. Prezes Akademii prof. Stanisław Tarnowski dziękował tym wszystkim, co dają żywe dowody życzliwości i uznania dla Akademii. Wspomniał, iż uposażenie jej jest niedostateczne, ale to nie przeszkadza, aby w miarę środków nie starała się odpowiedzięć swojemu zadaniu. Pracę naukową porównał do irrygacyi; głównym zbiornikiem wody, mającej użyźniać dane przestrzenie, jest Akademia, należy więc mieć troskę o ten zbiornik, ażeby nie zabrakło wody w żadnym z rozprowadzających ją kanałów. Sekretarz Akademii, prof. Smolka, zdał sprawę z czynności instytucyi, a szczegółowsze sprawozdanie w formie broszury rozdano obecnym. Prócz tego p. sekretarz generalny poświęcił wspomnienie zmarłym członkom, wykazywał brak odpowiednich środków materyalnych i stawał w obronie praktykowanego dziś rozdziału funduszów między wydziały, wobec głosów, które odezwały się za uszczupleniem funduszów wydziałowi matematyczno-przyrodniczemu. Po sprawozdaniu prof. Smolki wygłosił dr. Władysław Abraham, profesor uniwersytetu lwowskiego, odczyt o pierwszym w Polsce sporze kościelno-polityczym. Następnie ogłoszono nazwiska nowo wybranych członków Akademii, oraz nagrody z fundacyi Barczewskiego i im. Lindego. Z pierwszej fundacyi otrzymali nagrody p. Władysław Mickiewicz za czterotomowy żywot Adama Mickiewicza, Henryk Siemieradzki za kurtynę do teatru krakowskiego i Józef Brandt za „Modlitwę Ormian". Co do nagród za dzieła malarskie słuszną już nieraz robiono uwagę, iż Akademia nie całkiem właściwie rozumie myśl fundatora, któremu zapewne nie chodziło o to, aby oddawna uznanym i zamożnym mistrzom powiększać zbiory banknotów, ale aby nieść pomoc ludziom młodym, którzy zabłysnęli swym pierwszorzędnym talentem. Nagrodę im. Lindego otrzymał dr. Bolesław Erzepki z Poznania za „Słownik łacińsko-polski Bartłomieja z Bydgoszczy z roku 1532." Słownik ten był całkiem nieznany, a jest ważnym przyczynkiem do historyi naszego języka. Dr. Erzepki ułożył na jego podstawie Słownik polsko-łaciński, przez co przybyło sporo wyrazów, o których nie wiedział ani Linde, ani żaden z jego następców na polu badania naszego języka.

We Lwowie panuje radość pomiędzy płcią piękną, garnącą się do wiedzy. Wiadomo, iż była ona w położeniu bez wyjścia. Na uniwersytetach galicyjskich oświadczono jej krótko i węzłowato, że bramy ich będą dla niej zamknięte, dopóki nie przyniesie świadectw z ukończonego gimnazyum. Udała się przeto do Rady szkolnej z prośbą o otworzenie gimnazyum żeńskiego, na co jej „Wysoka (nie głęboka) Rada szkolna" odpowiedziała, że gimnazyum będzie założone w razie, jeżeli uniwersytety zgodzą się mieć obok uczniów i uczennice. Kto wynalazł te dwie odpowiedzi, tak wzajem się dopełniające, ten powinien postarać się o patent na wyrób łamigłówek. Płeć piękna osiadła na lodzie i myślała jedynie nad wynalezieniem środka zemsty na Bobrzyńskich, Rydygierów, oraz innych swoich otwartych i tajnych wrogów. Właściwie można im było najlepiej dokuczyć, zakładając własnym kosztem gimnazyum, ale nasze panie filantropki i emacypantki, ilekolwiekbądź razy zajmują się jakiemiś składkami lub przysporzeniem funduszów jakiejś instytucyi, zawsze ofiarują swoje nóżki do tańca i deptania, buzie do mówienia, rączki do nalewania herbaty, podawania ciast i cukierków, ale zawsze starają się, aby portmonetki ich przy tych trudach nie schudły. My brzydale opłacamy wszystkie ich zapędy filantropijne, które damom naszym dostarczają w zamian za ich poświęcenie sporo przynajmniej zabawy, a później jeszcze w dziennikach reklamujemy ich serca, wdzięki, uśmiechy i toalety. I w tym wypadku nasze panie były gotowe do poświęceń, aby założyć gimnazyum; gotowe były zbierać pomiędzy płcią męzką podpisy na udziały, ale jakoś sprzykrzyły się płci męzkiej poświęcenia kobiece i akcya się nie udała. Na szczęście przyjechała z Królestwa, czy z prowincyi zabranych, pani K. i nie ogłaszając nawet swego nazwiska, złożyła 30,000 rubli na ręce posła Piętaka na wybudowanie gimnazyum żeńskiego we Lwowie. Dotychczas w całej Austryi istnieją dwa takie gimnazya: jedno czeskie w Pradze, założone przez Stowarzyszenie kobiet i jedno niemieckie we Wiedniu, założone również przez „Frauenverein". Tak więc Galicya dzięki ofiarności zakordonowej, mieć będzie trzecie z rzędu w Austryi żeńskie gimnazyum. Profesor Piętak z gronem pedagogów zajmuje się szczerze przeprowadzeniem projektu. Plan nauk rozkładać się będzie na sześć lat tylko, ze względu, że przyjmowane będą do zakładu uczennice, które już skończyły dwa kursa szkoły wydziałowej. Pierwsza klasa ma być otwartą już we wrześniu r. b., a rozchodzi się na razie tylko o to, czy wystarczą fundusze. Trzeba będzie ustanowić znaczną stosunkowo opłatę roczną, ale cóż robić? — takie nastały czasy, że za wszelkie prawa dobrze płacić potrzeba.

Będziemy naprzykład niezadługo dobrze płacili za prawo jeżdżenia austryackiemi państwowemi kolejami. Dyrektor tych kolei, nasz „znakomity ekonomista" i nasz równie znakomity kandydat na ministra, JE. Biliński, postanowił wykazać się większym dochodem, a jako człowiek wielkiej inicyatywy i głębokich pomysłów uznał, że najlepiej będzie podwyższyć ceny jazdy. Maluczko, a jazda z Krakowa do Rzeszowa będzie nas więcej kosztowała, aniżeli przed laty 10, kiedy na czele zarządu kolejowego stał Niemiec. Ludzie bogaci, jadący pierwszą klasą, mniej tę podwyżkę odczują, skrupi się, jak zwykle, na warstwie uboższej. Cieszą się z tego tylko właściciele żydowskich furmanek i omnibusów, bo na niewielkich przestrzeniach odzyskają utracone przywileje. Czy J. E. Biliński nie zawiedzie się w swoich genialnych rachubach, można jeszcze postawić znak zapytania, — bo już i przy dzisiejszych cenach kolei austryackich podróż z Krakowa do Tryestu mniej kosztuje jadąc przez Węgry, choć droga jest dalsza. Zdaje się, że wobec nowej taryfy cała wschodnia Galicya, jadąc do Wiednia, używać będzie linii węgierskich. A nie jestto bynajmniej pierwsze podniesienie taryfy, bo już przed dwoma laty raczył ekscelencya podwyższyć ją o jedną czwartą. Z Krakowa do Chabówki (stacya do Zakopanego) płaciło się dawniej 1 złr., obecnie płaci się 1 złr. 28 ct., a podług nowej taryfy opłata wynosić będzie 1 złr. 70 ct. Miłe stósunki, zważywszy, że w całej Europie, nie wyjmując Rosyi, cena biletów jazdy koleją nie podwyższa się, lecz spada. Ba, ale od czego minis'eryalna głowa wielkiego ekonomisty!

A propos ofiarności naszych dam, o której tak zaszczytnie wspominałem, wpadł mi przed oczy rachunek złożony z jakiejś loteryi gospodarczej, urządzonej na dochód biednych w czasie wielkiego tygodnia. Właściwie nie był to rachunek, lecz podziękowanie pani Kukuwiczowej za dwa funty cukru, panu Kukawskiemu za kilo herbaty, pani Kukensteinowej za dwa placki, panu Kokockiemu za wino, panu Kikischmidowi za szynki itd. Co zaś ofiarowały ze swej strony dziękujące jaśnie wielmożne panie, pozostało tajemnicą. Cały dochód, jaki wpłynął, był ofiarą ludzi średnio lub mało zamożnych — jasne panie dały swe „trudy i pracę". Przypomina mi to inne podziękowanie. Donosiłem, zdaje mi się, iż zacny pan Ignacy Żółtowski dał włokącemu marnie swój żywot „Towarzystwu pracy kobiet" 15.000 złr. Dzienniki nasze strasznie ten czyn podniosły, ale dodały zarazem, iż zacny ofiarodawca złożył ten dar, „mając pewną gwarancyą w składzie komitetu". Otóż do komitetu tego należą w większej części nasze arystokratki, które przedstawiają majątku własnego i mężowskiego z jakie 50 milionów. Biedactwo to musiało czekać, aż się znajdzie pan Żółtowski, który wyratuje pod ich opieką pozostającą instytucyą. Ale wiemy przynajmniej, na co nasze jaśnie panie się zdadzą — oprócz „trudów i poświęceń" dają jeszcze... gwarancyą.

Nie pytał o gwarancyą malarz Witold Pruszkowski, ofiarując swój prześliczny obraz „Sielanka" na rzecz budowy szkoły polskiej w Białej. Wartość jego oznaczają znawcy na 3,000 złr. Zapytuję się, bo sam nigdy o tem nie słyszałem, czy znajduje się jaki książę lub hrabia galicyjski, któryby na rzecz oświaty ludowej złożył podobną sumę. Nie podoba mi się tylko, że znakomity artysta użył pośrednictwa „grona pań szkoły ludowej," panie te bowiem będą znów się chwaliły, że to one swym trudem i poświęceniem przysporzą funduszu szkole bialskiej. Niech czytelniczki „Przeglądu" nie sądzą, że jestem zatwardziałym nieprzyjacielem płci pięknej, ale nienawidzę po prostu strojenia się w cudze piórka, a nasze filantropijne damy z małym wyjątkiem tylko stroić się potrafią jak w piórka, w kapelusze, w falbanki, tak w trudy i poświęcenia.

Odwołam mój zarzut, jeżeli nasze damy same pomiędzy sobą zbiorą 30,000 rubli na gimnazyum żeńskie w Krakowie. A nie wielka zaiste byłaby to sztuka: niech milionerki dadzą po tysiąc reńskich, półmilionerki po 500 złr., stotysięczne po sto złr., adwokatowe, lekarzowe, kamieniczniczki po 25 do 50 złr., reszta niech złoży po parę lub kilka reńskich, a zbierze się suma dwa razy większa niż potrzeba. A będą miały i tę satysfakcyą, że obejdą się bez niegodziwych mężczyzn.

Tę korespondencyą męzko-żeńską muszę zakończyć aktem sprawiedliwości. Składka centowa na restauracyą Wawelu doszła w ciągu jednego roku do 20,000 złr. Pomysł i wykonanie zawdzięczać należy pani Ulanowskiej, matce profesora uniwersytetu, znakomitego historyka prawa polskiego. Trud to był prawdziwy, a i ofiarność niemała, bo wiadomo dobrze, iż zacna inicyatorka bierze sama znaczny udział w tym podarku narodowym, pokrywając przytem wszystkie nieuniknione koszta administracyjne. Ale p. Ulanowska nie jest w całem znaczeniu tego słowa „naszą damą," bo przybyła do nas z zaboru rosyjskiego.

Nasze damy, „na których sercach nikt się nie zawiedzie“ (styl reporterski) urządzają jutro wielki festyn ogrodowy na dochód dotkniętej trzęsieniem ziemi Lublany. Mężczyźni, gotujcie portmonetki, aby chwała tych serc rozeszła się i w południowej Słowiańszczyźnie.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Wiedeń, d. 6 maja 1895.

Przed zmianą gabinetu. — Hrabia Badeni. — Nuncyusz papiezki i polityka Węgier. — Banffy i Kalnoky. — Kryzys odłożona.

Jesteśmy w przededniu zmiany politycznej, bodaj czy nie katastrofy. Przesilenie w krótkim już czasie nastąpić musi, gdyż dalej stanowczo ani działać, ani radzić nie będziemy w stanie. W gabinecie ministrów odosobnienie. Oprócz ministra finansów Plenera, który ma spory zastęp swoich przyjaciół, wszyscy inni z połączonej lewicy są osamotnieni. W Kole polskiem panuje z obydwóch ministrów rodaków niezadowolnienie. Powiadają, że pan Jaworski jest coraz bardziej głuchy i niesłyszy, jak się należy, uwag w Radzie ministrów, a Madeyski, którego uważano za najtęższego członka w delegacyi polskiej, rozczarował bardzo nieprzyjemnie swoich przyjaciół. Najbardziej jednakże niemiłym faktem dla koła jest pewność, że w składzie teraźniejszej większości nie zajmuje ono już tego stanowiska, jakie posiadało za przeszłego ministerstwa.

To położenie wskazuje jawnie na fakt, że o dymisyi gabinetu mówi się już głośno i prawi o czasie dwóch lub trzech miesięcy, potrzebnych do jego ustąpienia. Ciekawem jest, że kiedy niedawno temu jeszcze mówiono o hr. Thunie, namiestniku czeskim, jako o przyszłym prezesie ministrów, obecnie występuje naprzód osoba namiestnika Galicyi, hrabiego Badeniego. Badeni jednakowoż już dzisiaj stawia warunki, a pierwszym jest: zniesienie prawa wyjątkowego w Pradze. W niedługim czasie dowiemy się wyniku tych pogłosek.

Węgry wrą i kipią. Zmiany i reformy, jakie rząd zaprowadzić zamierza w sprawach religijnych, natrafiły na bardzo ostrą krytykę i opozycyą. Szczególniej ze strony Słowian węgierskich czynią możliwie wszystko przeciw rządowi i przeciw żydom. W ostatnim tygodniu nuncyusz papiezki Agliardi przedsięwziął podróż po Węgrzech i nietając jej celu, wszędzie, gdzie się zatrzymał, zachęcał kler i katolików do opozycyi w sprawie reform religijnych i zaprowadzenia cywilnych ślubów. Prezes ministrów Banffy, niebardzo wśród swoich popularny, chciał się uczynić odrazu zdobywcą serc węgierskich i w gwałtownej mowie skarcił postępowanie Monsigniora. Chcąc mowie swojej nadać większego znaczenia, powołał się na wspólność opinii ministra spraw zewnętrznych, hr. Kalnoky'ego, po którym niespodziewano się w Watykanie ostrzejszej opozycyi.

Zrobiło to kolosalne wrażenie między wszystkiemi partyami, a wywołało naturalnie ze strony Kalnoky'ego w „Politische Correspondenz“ artykuł inspirowany przeciw Banffy'emu, że minister spraw zewnętrznych o niczem podobnem nie wie, że prezydenta ministrów do żadnych w jego imieniu oświadczeń nieupoważniał, i że w ogóle nie ma na to wcale dowodów, jakoby Monsigniore Agliardi mieszał się do spraw wewnętrznych węgierskiego państwa. Trudno o większą sprzeczność w zdaniach! Nastąpiło więc to, co nastąpić miało. *Aut — aut*, Kalnoky albo Banffy, obydwaj są od wczoraj w Wiedniu, a jak ostatnie wiadomości głoszą, Kalnoky podał cesarzowi prośbę o dymisyą. Dotąd niewiadomo, czy monarcha ją przyjmie, a cała sprawa przyjmuje bardzo nieprzyjemny obrót.

Banffy bowiem grożąc ustąpieniem, żąda koniecznie dla siebie satysfakcyi za tak bezwzględne i potępiające go wystąpienie Kalnoky'ego, który jak widać, więcej dba o przyjaźń z Watykanem, jak o dobre porozumienie się z Węgrami. Wobec tego partya liberalna obecnie rządząca w Peszcie oświadczyła w swojej wczorajszej rezolucyi, że nie jest w możności ze swojego grona innego gabinetu koronie oddać do rozporządzenia.

Ustąpienie Banffy'ego równać się więc może ustąpieniu liberalnej partyi, a z nią prawdopodobnemu rozwiązaniu parlamentu węgierskiego. Załatwić sprawę może tylko ustąpienie Kalnoky'ego, gdyż wtenczas chodzić będzie tylko o kryzys personalną i zastąpienie ministra spraw zagranicznych kim innym. Wypadki te są tak ważne, że wobec nich wszystkie inne sprawy austryackiej monarchii w tej chwili stanęły, czekając rozwiązania konfliktu: Budapeszt, Wiedeń, Rzym.

Pisząc te słowa, dowiaduję się, że cesarz przyjął Banffy'ego celem wysłuchania jego wywodów, — przyjął również i prezydenta ministrów Cislitawii Windisch-Graetza. Konferencya trzymana jest w tajemnicy. W Budapeszcie liberalizm i żydowstwo węgierskie żąda koniecznie usunięcia Kalnoky'ego z urzędu ministra spraw zagranicznych. Banffy zaś niepewne ma stanowisko u korony: po audyencyi u monarchy, w nocy Wiedeń opuścił.

Wieczorna „Allgemeine Zeitung“ donosi, że osobistemu wdaniu się cesarza w całą tę sprawę udało się kryzys usunąć i wszelkie nieporozumienie na razie zażegnać stanowczem żądaniem pozostania obydwóch ministrów na stanowisku, przynajmniej do zjazdu delegacyi państwa. Nastąpi on w jesieni. — *Vederemo*.*)

*) Przesilenie zostało istotnie zażegnane i obaj ministrowie pozostali na stanowiskach. Przyp. Red.

Xi.

NA WYŁOMIE.

(Nieodzowny środek na zabicie prasy polskiej. Dziennikarska miłość! Procesy. „On dit“. Nie ma lekarstwa).

Wysilał Bismark swój mózg polityczny, aby prasie polskiej *„Requiem“* zaśpiewać. Dręczono ją, bito, ścigano jak zwierza po kniei, ale zamiast wesołego „Halali“ słyszano tylko klątwy myśliwych w bezowocnej nagance. Był wprawdzie sposób niezawodny dla radykalnego wytępienia znienawidzonych „rycerzy pióra“, lecz mądry książe dzielił w tym wypadku los wielu sławnych dyplomatów: Szukał gdzieś daleko w czeluściach piekielnych smoły i ognia na zagładę wroga, ale nie widział, że tuż pod ręką ma skuteczne śmierci narzędzie. Ot! prosty sposób. Gdyby tak pewnego pięknego poranku ogłoszono dekret, że wszystkim polskim redaktorom nakazuje się nosić karabelę u boku i na uczczenie tej wiekopomnej „koncesyi“ urządzić wspólną biesiadę, to nazajutrz stanęłyby machiny w drukarniach naszych i tylko „Posener Ztg.“ doniosłaby w rubryce „Polnisches“, że polscy dziennikarze spotkawszy się oko w oko z karabelą w ręku, wysiekli się nawzajem do szczętu, a ostatni, którego nikt na łono Abrahama wyprawić nie zdołał, zapił się na śmierć z entuzyastycznej radości nad strasznym pogromem kolegów. I byłaby wielka cisza na poznańskim bruku, i byłby wielki tryumf w pałacu Bismarka. Polska prasa istnieć przestała!

O! szanowni koledzy — ty gruchających gołębi gromado! — jakże mnie rozczulacie miłością swoją. Prawdą a Bogiem, to my „z dziennikarskiego cechu“ na całym świecie mamy opinją kłótliwej rodziny, ale z stosunkami poznańskiego partykularza chyba jedna Ameryka iść może o lepsze. W ostatnim mianowicie czasie zdeptano nawet resztki pozorów i kto wie, czy przy najbliższej okazyi na wzór „Arizona — Kickerów“ nie zaczniemy sobie szyb wybijać i z rewolwerów strzelać. Kto tu zawinił, kto rozgoryczył do tego stopnia redaktorski ludek, tej kwestyi w dwóch słowach rozstrzygać nie można. Trzebaby napisać historyę Księstwa w ostatnich latach istnienia naszego i szczegółowo wszystkie gatunki broni, wyprowadzone na arenę politycznych bojów.

Deptano zuchwale zasady parlamentaryzmu i uczciwości, kuto oszczerstwa, fabrykowano bojkoty, zaglądano wzorem detektywów za kotary życia prywatnego i rozpętano wszystkich szatanów małostkowych zazdrości, aby dokuczyć przeciwnikom i upokorzyć rywali. I oto dziś ta prasa poznańska tak się upiła nienawiścią, tak zaskorupiała w wzajemnym wstręcie, tak zdemoralizowała społeczeństwo całe, że wśród intryg, napaści i trujących złości sprawa publiczna paść może ofiarą.

Wspominałem już niegdyś dzieje owej kasy dziennikarskiej, która zabezpieczyć miała drużynę prasową na wypadek kalectwa i starości. Myśl wyszła z Galicyi, podjęto ją w Poznaniu i zwołano do francuzkiego hotelu redaktorskie zebranie. Zdawaćby się mogło, że tu, gdzie polityka żadnej nie odgrywała roli, a wspólny interes materyalny wymagał pracy zbiorowej, wszyscy jak jeden mąż staną do apelu. — cóż? pięć czasopism zasiadło do stołu, a trzy inne uznały, że z takiem towarzystwem obcować nie mogą. Zerwane wszystko! Tak długo pastwiono się nad przeciwnikami, że ludzie tracą już zdolność różniczkowania, że nienawiść rozciągają na wszystkie stosunki i nie politykiem tylko, lecz człowiekiem gardzą.

A teraz wkraczamy w erę procesów. Dawniej procesował nas Bismark, dziś procesuje się swój ze swoim. W całej Europie jest przyjętym zwyczajem, że tylko w nadzwyczajnych wypadkach gazeta gazetę pozywa przed kratki sądowe o *crimen* obrazy — w Warszawie, o ile mi wiadomo, jedynie „Rola“ antisemicka ogólnym prawidłom nie podlega. U nas, na mocy milczącej ugody redaktorskie pieniactwo należało również do rzadkich wyjątków, — kłócono się i szarpano ostremi piórami, ale trybunałów pruskich nie wołano w charakterze rozjemców. Dziś inne wiatry zawiały, — dziś na wokandzie błyszczą posępnie nazwiska polskich redaktorów. Jeżeli mnie pamięć nie myli, to pierwszy „Postęp“ zagroził publicznie w obec bezustannych napaści organów „ładu i porządku“, że przy najbliższej okazyi zażąda satysfakcyi w drodze procesu. Niebawem dowiedzieliśmy się, że współpracownik „Kuryera Poznańskiego“ p. dr. Łebiński wytoczył „Gońcowi Wielkopolskiemu“ proces o obrazę i uzyskał wyrok na 500 Mr. grzywny. Obecnie rozgrywa się proces między „Wielkopolaninem“ a „Gońcem Wielkopolskim“ i w pierwszej instancyi zakończył się zasądzeniem pierwszego na 50 marek kary, a w ostatniej chwili dowiadujemy się, że stronniczy i obraźliwy referat z tego procesu w „Dzienniku Poznańskim“ stał się powodem nowej skargi ze strony „Gońca Wielkopolskiego“. Nie koniec na tem. W powietrzu wisi podobno jeszcze kilka pokrewnych procesów i pieniactwo rozkwita z wiosną aż miło.

Badając przyczyny tej bijatyki z kodeksem i paragrafami w ręku, muszę tu powtórzyć pewne *„on dit“* kursujące od pewnego czasu po mieście i prowincyi. Opowiadano mi, że w chwili świeżych zamieszek politycznych, gdy „Goniec Wielkopolski“, „Orędownik“ i „Postęp“ zerwały się do walki przeciw wybrykom lojalizmu naszego i niesłychanemu teroryzmowi stronnictwa „ładu i porządku“, poruszono w pewnych kołach konserwatywnych myśl, aby „pisemka opozycyjne“ zniszczyć procesami. Gdy namiętności rozpalone, gdy krew kipi w żyłach a w sercu piecze poczucie krzywdy doznanej, wtedy dziennikarz-polemista zapomina często o literze prawa i nazywa rzeczy po imieniu, którego bezkarnie wymówić nie wolno. Prasie opozycyjnej brakło doświadczenia i rutyny, a zresztą deptana bezustannie ofiara zręcznych bezprawi traciła równowagę i dyszała zemstą. Wtedy szepnęli mężowie „ładu i porządku“: „Procesujmy! Niech płacą, aż im bankructwo zarygluje usta!“ Redakcye konserwatywne w kampanii tej stanęły na uboczu, ale z pewnych notatek w „Kuryerze“ i „Dzienniku Poznańskim“, oraz z prywatnych wynurzeń „panów redaktorów“ jasnem się stało natychmiast, że reżyserów wojny procesowej szukać należy w oficynach dziennikarskich. To spowodowało „Postęp“ do owej pogróżki cytowanej powyżej, to rozgoryczyło niezawodnie i „Gońca Wielkopolskiego“.

„Stronnictwo „ładu i porządku“ — mówiono sobie — pragnie nas finansowo zmarnować w drodze procesów, — my zatem „krew za krew“

odpłacimy się organom tego stronnictwa, a materyałów do skargi znajdziemy pod dostatkiem w ich zuchwałych, obelgą i kalumnią operujących napaściach". Zawrzała tedy walka zacięta, której rezultat dla nikogo nie jest zagadką. Sakiewki redaktorskie schudną jak Sara Bernhardt, a trzosy adwokatów i sądów utyją jak — no! domyślcie się, — mieszka na Św. Marcinie.

Obowiązkiem feljetonisty byłoby na zakończenie diagnozy zalecić jaką miksturę, aby powstrzymać rozwój choroby, — ale przyznaję otwarcie, że w moich aptekach nie ma na to środka. Gdyby powstał jaki nowy Pasteur i wynalazł limfę cudowną przeciw wściekliźnie moralnej, powitałbym go grzmiącym „Hosanna" i „Alleluja" — dziś nie pozostaje mi nic innego, jak zrobić minę lekarza, któremu prezentują raka żołądkowego lub trąd azyatycki. Była chwila, w której marzyłem o założenin stowarzyszenia dziennikarskiego z stałym sądem rozjemczym i spodziewałem się pięknych owoców po tej instytucyi. Dziś jednak, wnikając coraz głębiej w czeluście naszych stosunków, widzę dokładnie, że chwilowo wszelkie wysiłki w tym kierunku rozbić się muszą nie o polityczne różnice, lecz o niechęci osobiste, które nurtują w świecie dziennikarskim z niepowstrzymaną potęgą, wiecznie syczące i trucizny pełne. Kiedyś — gdy od steru dzienników naszych usuną się ludzie nienawiścią pijani, — gdy ustąpią z areny ci wszyscy, którzy zdemoralizowali społeczeństwo i prasę chorobliwą zazdrością i brutalną zasadą „przez cel uświęconego środka". — gdy na czele całego dziennikarstwa staną młodsze siły, dla których tolerancya cudzych przekonań i uczciwość w polityce nie są pustym frazesem, — wtedy dopiero organizacya prasy i reforma stosunków z dziedziny marzeń przejdą w rzeczywistość. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

Mścisław Edgar Trepka. Anglia i Anglicy. Studya. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka. 1895.

Społeczno-ekonomiczne studya te, pierwotnie drukowane w Ateneum, składają się na dość dużej objętości książkę z zakresu, który w literaturze polskiej leży ugorem. Czytelnik z pewnością da jej pierwszeństwo nad przekładami, gdyż, jak to wynika z natury rzeczy, autor uwzględnił punkt widzenia rodaków. P. T. posiada dwie cenne cechy, torujące drogę w publicystyce: staranny i poprawny styl oraz dar sterowania z pomocą tegoż z dala od rafi punktów spornych. Styl jego jest wielokrotnie sam sobie celem i maskuje nieco bladą [illegible]ntacyą, dzięki której wszakże studya, nie przeciążone wycieczkami w głębiny życia społecznego i dziedzinę etyki, stają się przystępne i poczytne. Wszystkich tych atoli, których oko nie ślizga się po powierzchni rzeczy, musi razić pewien brak indywidualnego zapatrywania i konwencyonalny sposób traktowania przedmiotów. Niewątpliwie jednak na sumiennych i źródłowych studyach oparte rozprawy czynią z książki tej doskonałe źródło informacyjne, godne polecenia. Do najciekawszych z pomiędzy kilkunastu prac należą: Anglo-Sasi jako rasa przyszłości i Era Wiktoryi. Rzecz o kanclerzu hrabim Shaftesbury, którego pomawiano o pretendowanie do korony polskiej i zwano szyderczo hrabią Tapskim, nie budzi żywszego interesu. Zbyt szczegółową pracą jest streszczenie słynnego dzieła Karola Dilkego p. t. Greater Britain, — Kolonialna potęga Wielkiej Brytanii. Autor podejmuje też zdanie tego pisarza w pracy o Anglo-Sasach, zwiastujące, że przed dwoma szczepami stoi otworem przyszłość: Anglo-sasami i Słowianami. Dzieło całe daje wierny obraz instytucyi angielskich jak n. p. bibliotek i uniwersytetu londyńskiego, ustroju municypalnego, stosunków agrarnych i robotniczych oraz kwestyi samorządu Irlandyi i kończy ciekawą i jedną z najlepszych rozpraw o ważnym społecznym problemacie: Pijaństwie i Wstrzemięźliwości. *N.*

*

Redakcya „Czasu" ogłasza niniejszem konkurs na napisanie noweli oryginalnej, odpowiedniej do feljetonu „Czasu". Termin konkursu upływa dnia 15go lipca b. r. Nowelle winny być przed upływem tego terminu nadesłane w odpisie czytelnym do redakcyi „Czasu" bezimiennie z godłem i z dołaniem zamkniętej koperty, temże godłem zaopatrzonej, a zawierającej nazwisko autora. W końcu miesiąca lipca wynik konkursu ogłoszonym zostanie w „Czasie".

Za najlepszy i celom feljetonu dziennika najbardziej odpowiedni utwór wypłaci redakcya „Czasu" autorowi nagrodę 300 złr., za drugi do tych celów najbardziej się zbliżający 100 złr. Redakcya zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do ogłoszenia w „Czasie" za wypłaceniem zwykłego honoraryum wszystkich tych nadesłanych utworów, zarówno nagrodzonych, jak i innych, które uzna za odpowiednie, a nadto prawo wydania wszystkich w „Czasie" wydrukowanych nowel z tego konkursu, bez dodatkowego wynagrodzenia autorów w osobnej odbitce, w jednym nakładzie. Wydanie to może być także odstąpione której z firm księgarskich.

* * *

Pan dr. Bolesław Erzepki, konserwator Tow. Przyj Nauk w Poznaniu otrzymał od Akademii umiejętności w Krakowie nagrodę im. Lindego (675 rs.) za pracę p. t. „Słownik łacinsko-polski Bartłomieja z Bydgoszczy z r. 1532." Praca dr. Erzepkiego jest cennym przyczynkiem do lingwistyki polskiej.

* * *

Nr. 9 Przeglądu Wszechpolskiego, dwutygodnika politycznego, społecznego i ekonomicznego, wychodzącego we Lwowie, odznacza się wielkim doborem treści i obfitością cennych informacyi. Na uwagę zasługuje artykuł p. t. „Znaczenie polityczne wychodztwa."

* *

Wincenty Rapacki (syn). Plama. Obrazek w jednym akcie wierszem. W Poznaniu. Nakładem i czcionkami W. Simona 1895 — Co mówi serce? Poezye. 1895.

Ruch wydawniczy w zaborze pruskim ujawnił w ostatnim lat dziesiątku symptomy zatrważającej senności. Bujne życie, związane z nazwiskami takich Żupańskich i Kamieńskich, należy dziś już do historyi, a księgarnie poznańskie ograniczają swoją działalność niemal wyłącznie na wydawnictwach ludowych i dewocyjnych. Dawniej drukowaliśmy Lelewelów, Jarochowskich, Nehringów i t. d., dziś drukujemy „Cudowne leki na śmiertelne strachy". „Chleb św. Antoniego" i „Historye o złotoskrzydłych rycerzach". Jedynie pan Karol Kozłowski zaryzykuje od czasu do czasu wydawnictwo wyższego stylu, — reszta lęka się jak zarazy już nietylko naukowych publikacyi, ale nawet belletrystyki o poważniejszym zakroju. To też z uczuciem miłego zdziwienia powitałem na półkach księgarskich dwa utwory Wincentego Rapackiego (syna), wydane w najświeższym czasie, nakładem W. Simona w Poznaniu. Pan Rapacki nie jest bynajmniej nowicyuszem w zawodzie literackim. Z nazwiskiem jego spotykaliśmy się nieraz w pismach warszawskich, a mianowicie w „Echu muzycznem i teatralnem", gdzie ukazywały się od czasu do czasu zręczne bluetki sceniczne i liryczne poezye młodego autora. W ostatnim zaś czasie, gdy dyrekcya teatru poznańskiego zaliczyła do składu trupy miejscowej zdolnego pisarza — p. Rapacki jest z zawodu artystą dramatycznym — ogłosił „Przegląd Poznański" i „Goniec Wielkopolski" kilkanaście humorystycznych monologów i melodyjnych wierszyków aktora-poety. Maleńki zbiorek poezyi p. t. „Co mówi serce?" składa się przeważnie z utworów rozrzuconych już dawniej po czasopismach naszych — utworów, których wartość artystyczna jest bardzo nierówna. Nie ma tam wytwornej formy epigonów Słowackiego, nie ma siły Konopnickiej, nie ma oryginalnej fantazyi i syczącej boleści Kasprowicza, ani smutnej melancholii Tetmajera, ale jest niekiedy trochę sennej zadumy, ujętej w rytmy muzyczne, i niekiedy szczery krzyk ludzkich uniesień i żalów. W dźwiękach tych razi jednak miejscami pewna pospolitość obrazów, brak głębi uczuciowej i szerszego lotu. Do najlepszych utworów całego zbiorku należy część druga, gdzie rytmy i wiązania wzorowane są według pewnych temp i form muzycznych. W tych drobiazgach wyśpiewanych „allegretto", „largo" lub „scherzando", w tych „affektuosach" i „sostenutach" są gdzieniegdzie przejawy prawdziwego talentu, a do najpiękniejszych zaliczam wiersz: „Misterioso".

Drugiemu utworowi p. Rapackiego p. t. „Plama" poświęcił „Przegląd Poznański" już przed kilku tygodniami wzmiankę krytyczną. Jest to jednoaktowy obrazek sceniczny, w którym autor w pięknej formie wiązanej przeciwstawił prawdziwej sztuce — zyskowne rzemiosło, obrazom malowanki. Ze stanowiska techniki utwór ten niewątpliwie posiada pewne usterki; tendencya występuje tu na plan pierwszy, krępując akcyą i plastykę postaci, a bohater komedyi, młody malarz, który raz jeden w życiu sprzeniewierza się ideałowi, lecz w końcu zmywa swą „Plamę" — drąc w kawałki jarmarczny obrazeczek, schlebiający gustom pospólstwa — bohater ten, który jest osią całego utworu, kryje się gdzieś w pomroku, za mało żyje, za mało działa na scenie. Mimo to jednak jest w obrazku pana Rapackiego ta siła orzeźwiająca, która tryska jedynie z głębokiej wiary w jakąkolwiek ideę, czy to społecznej, czy filozoficznej, czy artystycznej natury. Autor ukochał serdecznie myśl swoję i pragnąc, pragnie gorąco:

„Na Boga, posłuchajcie, ja wiem, że żyć trzeba,
Każda praca szlachetna, ale bez obłudy,
Bez podłej hipokryzyi, bez tego plaszczenia,
Co pod skórą artysty kryje rzemieślnika!
Idź, idź, pomnóż szeregi dzisiejszej młodzieży,
Co tylko w siłę złota i banknotów wierzy!
Rób dalej obrazeczki bez wartości żadnej,
Nie dbaj, aby twój utwór tchnął prawdą i życiem,
Aby celował wiernem twej duszy odbiciem,
Tylko, aby był smaczny, szykowny, lub ładny,
I staraj się, by wszyscy mieli to pojęcie!
Pamiętaj o tytule i o sentymencie,
Wystawiaj obraz tak, jak towar na jarmarku,
Za pieniędzmi leć w błoto na złamanie karku!
Wszak to oręż, co wszelkie przeciwności kruszy,
Wtenczas staniesz się modnym, obsypią cię gradem
Pochwał i pochlebstw, uczczą składkowym obiadem,
Będziesz się kąpał w sławie aż po same uszy,
I będziesz tylko myślał o nowym sposobie,
Jakby się dobrze najeść, jak się prędko zaśnie,
Potem zgaśniesz, jak płomień fajerwerku gaśnie,
I za miesiąc pies nawet nie wspomni o tobie!
Kto nie ma sił do walki, komu sztuka zbrzydła,
Niech ją rzuci zupełnie, weźmie się do szydła,
Lecz niechaj nie frymarczy tem, co było święte!"

Ten gniew i protest stanowią duszę całego utworu a są tak szczere, tak proste i silne, że czyta się ten obrazek sceniczny z zajęciem i przebacza autorowi chętnie techniczne usterki. *Wł. R.*

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. We wtorek rozpoczęły się w parlamencie niemieckim obrady nad ustawą przewrotową. — Minister Koeller zamierza sejmowi pruskiemu przedłożyć jeszcze w bieżącym roku projekt do nowego prawa o stowarzyszeniach i zebraniach. Projekt ten zawiera podobne znaczne obostrzenia i tchnie ideą ustawy przewrotowej. — Na poniedziałkowem posiedzeniu parlamentu niemieckiego przemawiał poseł nasz Leon Czarliński przy obradach nad wnioskiem posła Elma dotyczącym uregulowania prawa o stowarzyszeniach. — Wybór wolnokonserwatywnego posła do parlamentu p. Dziembowskiego został unieważniony. Deputowany ten posłował z okręgu babimojsko-wolsztyńskiego.

Zjazdy i kongresy. Zjazd przemysłowy odbędzie się w Poznaniu 13., 14. i 15. lipca. — Walne zebranie „Związku katolickich Towarzystw nauczycielskich W. Księstwa Poznańskiego" odbędzie się 4. i 5. czerwca w Poznaniu. — W Frankfurcie nad Menem odbył się trzeci kongres historyków niemieckich.

Teatr i muzyka. Towarzystwo dramatyczne teatru poznańskiego udało się na gościnne występy do Inowrocławia. — Występy gościnne Edmunda Rygiera we Lwowie cieszą się zasłużonem powodzeniem. — Dyrekcya „Teatru Nowości" w Warszawie ogłasza dla wzbogacenia repertuaru konkurs na napisanie farsy polskiej z kupletami w 4 lub 5 aktach. Pierwsza nagroda wynosi rs. 150 gotówką oraz 10 proc. od dochodu „brutto" z przedstawienia nagrodzonej sztuki w „Teatrze Nowości". Druga nagroda wynosi rs. 75 oraz 8 proc. od dochodu „brutto". Nazwiska sędziów ogłoszone zostaną w dniu 1. czerwca rb.; rezultat konkursu opublikowany będzie dnia 1. kwietnia r. 1896. Adresować sztuki konkursowe należy do p. Feliksa Kwaśniewskiego (Nowy Świat nr. 45 w Warszawie. „Teatr Nowości" jest to sezonowy teatrzyk ogródkowy w Warszawie. — Na scenie teatru lwowskiego wystawiono nowy jednoaktowy dramat Fr. Zwilkońskiego p. t. „Za późno". Krytyka przyznaje utworowi temu pewne zalety literackie, [illegible]mawia mu jednak warunków scenicznych. — W [illegible] ukaże się niebawem w formacie książkowym dramat p. Walerego Łebińskiego p. t. „Ambicye". — Artystyczny kierunek warszawskiego teatru „Wodewil" objął Michał Wołowski. — Opera Jarosława Vrchlickiego „Burza" z muzyką Zdenka Fibicha, przedstawiona w „Pradze Czeskiej", doznała wielkiego powodzenia.

Zmarli:

Dr. Lucya Ryde, znakomity lekarz-okulista, profesor wszechnicy Jagiellońskiej, zmarł 27. kwietnia w Krakowie.

Gustav Freitag, słynny powieściopisarz niemiecki, zmarł 30. kwietnia w Wiesbadenie.

Ludwik Kurtzmann, wytworny tłomacz Słowackiego, Syrokomli i Pola na język niemiecki, znawca i wielbiciel literatury polskiej, zmarł 1. maja w Szymanowie pod Rawiczem.

John Bell, wybitny rzeźbiarz angielski, zm. 17 kwietnia w Londynie.

Prof. James Dana, słynny amerykański przyrodnik i geolog, zm. w pierwszych dniach maja w New-Haven.

Odpowiedzi Redakcyi.

Belle blonde aux yeux noirs. Nie, piękna pani, to nie Seweryn D. lecz Zofja D. Więcej powiedzieć nie możemy.

En. Prosimy zgłosić się do redakcyi.

Fr. G. Czasopismo humorystyczne „Momus" przestało już wychodzić od dawnego czasu. „Momus" z greckiego „Momos", bóg ironii i satyry.

K-r-t. Wyraz „radirunek" jest wprawdzie nazywany gdzieniegdzie w potocznej gwarze malarskiej, poprawnie mówi się „kwasoryt."

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 20. Poznań, Niedziela 19go maja 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Niepoprawni.

Ustawa przewrotowa upadła, a nad mogiłą nieboszczki żadne stronnictwo w parlamencie niemieckim nie wylało łzy serdeczniejszej. Zeszła do grobu w akompanjamencie tryumfalnego marszu żywiołów cywilizacyjnych i cichego odgłosu targów zakulisowych. Historya przedśmiertnej walki, którą reakcyjny projekt stoczył w parlamencie, znaną jest bez wątpienia czytelnikom naszym z dokładnych sprawozdań dzienników politycznych, — powtarzać jej zatem nie będziemy. Jest jednak jeden epizod w tym boju, któremu nasze wielkie organy nie poświęciły dotychczas żadnej analizy, a który nie pozostanie bez wpływu na rozwój polityczny życia polskiego, — mówimy o stanowisku *„Koła“* w parlamencie i jego stosunku do społeczeństwa i stronnictwa centrum.

Jak wiadomo przeprowadziło centrum katolickie w obradach komisyjnych reformę projektu rządowego w tym kierunku, że nadało mu koloryt klerykalniejszy, potęgując wszystkie paragrafy, które zmierzały ku nałożeniu hamulca na swobodę myśli ludzkiej i zatamowaniu wartkiego prądu dążeń humanitarnych. Stępiwszy niedziegdzie ostrze społeczno-polityczne rządowej ustawy, ukuło z niej broń przeciw wolności nauki i sztuki, pętając skrzydła ducha ludzkiego i krępując słowo i pióro kajdanami dogmatycznych formułek. Myśl szybującą w tajemniczych przestworach zagadek bytu ludzkiego zamierzano ściągnąć w proch skostniałej reakcyi i w dziedzinie piękna zamiast „miary Fidjasza“ stosować „miarę krawca - filistra.“ Rozluźniwszy — i to niezupełnie — śrubę polityczną, zakręcono śrubę klerykalną tak silnie, że nawet konserwatyści zakamieniali, o pokroju ortodoksyi, ulękli się inkwizycyjnych zakusów i projekt komisyjny odrzucili z wszelką stanowczością. Znalazło się jednak jedno stronnictwo w parlamencie niemieckim, które nie odmówiło pomocy swojej kolumnom reakcyi i niemal bez wyjątku wszystkie paragrafy projektu sporządzonego w fabryce centrum poparło głosami swojemi. Stronnictwem tem jest *Koło polskie.*

Po smutnych doświadczeniach zgromadzonych w latach ostatnich nie łudzimy się nadzieją, aby słowa żalu wysłane pod adresem Koła sprowadziły na inne tory grono posłów naszych, a jeżeli mimo to na tem miejscu zapisujemy protest bolesny, to czynimy to w tym celu, aby w obec swoich i cudzych *w imieniu polskiego społeczeństwa zaboru pruskiego* zaprzeczyć mniemaniu, że Koło nasze w parlamencie jest wyrazem narodowych dążeń i narodowego ducha. Podkreślamy wyrazy „w imieniu społeczeństwa“, bo dzisiaj nie uważamy się wyłącznie za reprezentantów inteligencyi zszeregowanej około „Przeglądu Poznańskiego“, lecz mamy prawo uważać się za wyraz całej opinii publicznej w polskich dzielnicach.

Z wyjątkiem małej grupy „Kuryerowych“ fanatyków stanęły wszystkie czasopisma nasze w opozycyi do rządu i komisyi, a ta jednomyślność całej prasy polskiej, to zwarte „ramię przy ramieniu“ przeciw upiorom reakcyi, ta masowa kontrakcya społeczeństwa naszego była wspaniałą manifestacyą woli narodu i potężnym Imperatywem dla reprezentacyi parlamentarnej. Nadomiar ozwały się poważnym g[illegible] rezolucye poznańskie, potępiające ustawę zarówno w formie rządowej jak w komisyjnej zaprawie, a lubo inne okręgi zaboru pruskiego w strój rezolucyi zbiorowych nie ubrały przekonań swoich, to mimo to z artykułów prasy i z sympatycznego przyjęcia, jakiego poznańskie uchwały doznały w dziennikarstwie poznańskiem, szlązkiem i zachodnio-pruskiem, szedł głos wyrazisty, przenikliwy i czysty, że stolica stała się wyrazem opinii publicznej.

W całem społeczeństwie ozwał się jakiś potężny instynkt opozycyjny, a siła tego instynktu była tak elementarną, że na pamiętnem zebraniu wyborców miasta naszego nawet przedstawiciele tronowego nabożeństwa z obozu „Kuryera“ nie odważyli się ani jednem słowem bronić ustawy — skazańca. Rezolucye zapadły jednomyślnie, niezamącone brzękiem liczmanów lojalnych, — a garstka malkontentów dopiero nazajutrz zdecydowała sie rzucić kamieniem nie na rezolucye, lecz na obrońców rezolucyi.

Zdawało się istotnie, że wobec tak żywiołowej siły protestu posłowie polscy nie ośmielą się lekceważyć woli społeczeństwa, a domyśly te znalazły pokarm ożywczy w przemówieniu ks. prałata *Wolszlegiera* i głuchych posłuchach dolatujących nas z *„camera obscura“* „Koła“ naszego. Niestety zawiodło wszystko i *reprezentacya narodu* zdeptała *wolę narodu.*

Stanowisko „Koła polskiego“ wobec ustawy przewrotowej zasługuje z dwóch względów na szczególną uwagę: 1) Jest ono nowym dowodem, że posłowie zatracili poczucie odpowiedzialności swojej wobec społeczeństwa i prowadząc politykę na własną rękę, zapominają zupełnie, że wotum poselskie powinno być wyrazem opinii, że poseł jest tylko indywidualnem pojęciem rzeszy wyborczej, że nie poseł za siebie, lecz naród mówi przez posła. 2) Koło polskie stargawszy węzły łączące go z społeczeństwem chodzi pokornie w uprzęży centrum katolickiego, strojąc się tylko od czasu do czasu w barwy cesarskie.

To zaprzedanie się duszą i ciałem stronnictwu Niemców katolickich jest sygnaturą całej polityki berlińskiej. Posłowie nasi poszli na służbę ludzi, którzy od dawna zyskali sobie opinią zręcznych handlarzy dyplomatycznych, wyzyskujących wszystko i wszystkich do partyjnych celów. Cała ich działalność mówi niedwuznacznie, że Polacy jako naród nie istnieją dla nich, — istnieją tylko jako wyznawcy wspólnej religii, a chociaż nikt nie zaprzeczy, że katolicyzm w naszych warunkach oddać może społeczeństwu pewne usługi, to przecież po za kościołem jest szeroka dziedzina interesów narodowych i cywilizacyjnych, dla których centrum nie jest sojusznikiem lecz zaciętym wrogiem

Tych interesów zaprzepaszczać nam nie wolno, a ślepa adoracya epigonów Windthorsta wiedzie na mury Watykanu, lecz strąca z murów ojczyzny. Centrum w własnym interesie opuścić nie może katolicyzmu polskiego, wszelka więc ofiara z naszej strony nie jest handlowem „do ut des“ lecz prostą darowizną. Taktycznych motywów, któreby na usprawiedliwienie Koła posłużyć mogły, szukamy naprożno, a w końcu pozostaje jedna tylko pewność, że posłowie nasi zatracili do szczętu trzeźwość i samodzielność polityczną i jak dawniej w chorobliwej ekstazie wierzyli w słońce tronowe, tak dziś konwulsyjnie w poczuciu osamotnienia i własnej bezsiły rzucają się znowu w objęcia centrum, które się uśmiecha, pieści, a w końcu zdusi Polaków.

Stało się! Społeczeństwo polskie pruskiego zaboru stoi wobec faktu, który nastręcza materyał do poważnych rozmyślań i woła głośno, że jest obowiązkiem ludu polskiego a przedewszystkiem inteligencyi przodującej zbudzić się z odrętwienia i wypowiedzieć odważnie sąd o politycznem działaniu reprezentacyi naszej.

Ostrożna taktyka „wielkich organów „świadczy wymownie, że z wyżyn dyplomacyi poznańskiej spadło rozporządzenie, aby całą sprawę milczeniem pogrzebać i apatycznem *„laisser faire“* wycisnąć stempel legalności na czynach „Niepoprawnych“ naszych. Jest to ulubiona metoda poznańskich sterników, wobec której społeczeństwo rzadko tylko zdobywa się na akt samodzielnej opozycyi. Ten brak inicyatywy, ta senna, bezduszna atmosfera kraju naszego rozzuchwaliła reprezentantów polskich w parla-

mencie i zakulisowych reżyserów dyplomacyi poznańskiej.

Gdyby społeczeństwo nie tylko czuło opozycyę, lecz zerwało się do czynu, nie bylibyśmy dzisiaj w przykrem położeniu, aby na mogilniku ustawy przewrotowej taki wyryć napis: *„Polscy posłowie przestali reprezentować opinię polskiego narodu!“*



Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„Gazeta Grudziądzka“ pisze w Nr. 55:

Związek przyjaciół psów. Związek taki istnieje w Bydgoszczy i liczy już blizko 200 członków. Na walnem zgromadzeniu uznano wielkie usługi, jakie wyświadczył światu zwierzęcemu baron Zedlitz i obrano go jednomyślnie członkiem honorowym stowarzyszenia. Ogłosiły to pisma niemieckie, podnosząc ludzkość ludzi. I my uznajemy w tem ludzkość, gdy ludzie upominają się o krzywdy czworonożnych. które same sobie wymierzyć nie mogą sprawiedliwości, lecz oby się ta ludzkość nie skończyła na zwierzętach. Oby w narodzie niemieckim nie rządzono się zasadą dzikiego Suworowa, pogromcy Pragi nadwiślnej, który pomordowawszy niewinnie tysiące istot bezbronnych, znalazł w swem okrutnem sercu współczucie tylko dla ranionego indyka i tego w lazarecie leczyć kazał. Dziś jeszcze przypuszczamy, że ci z Niemców, którzy nie mogą cierpieć krzywdy nawet zwierząt, tem mniej należeć będą do związku mającego na celu wygładzenie ludzi, lecz czasy zaczynają być straszne i mimowoli przypomina się historya Suworowa. Czyż odzywają się bowiem w Poznańskiem lub tu w Prusach Zachodnich zbiorowe głosy niemieckie przeciwko niecnej hecy antypolskiej? Czy upomnieli się Niemcy o krzywdy ludu żyjącego, mającego prawa do istnienia jako naród, który słynna spółka chce doprowadzić do zguby? Wszak znajdują się już tacy, co chlubią się z należenia do K.H.T., zatem z haseł nieludzkich, zachęcających do wytępienia ludzi zrodzonych Polakami. „Usuńcie się, bo my musimy wejść na miejsce wasze“, powiadają nam ciągle jak najwyraźniej, dla tego sprowadzają lekarzy, przemysłowców i ludzi wszelkiego zawodu narodowości niemieckiej, aby Polacy powymierali z głodu i w ten sposób usunęli się jak najprędzej. To także skazanie na śmierć, śmierć gorszą niż w krwawej walce, bo obmyślaną potajemnie, a dokonaną podstępnie. Jeżeli w narodzie niemieckim znajdą się liczne zastępy naśladowców tego żelaznego męża, który kochał psa (Reichshund), a równocześnie wydał wyrok śmierci na miliony ludzi, to zaiste kultura niemiecka uczyniła zwrot wsteczny ku cywilizacyi krwawego okrutnika Suworowa. Biada kulturze, która takie wydaje okazy przy schyłku 19go stulecia i nie czuje nawet upadku w tym powrocie do barbarzyństwa!

—

Głośny artykuł „Przeglądu Poznańskiego“ p. t. „John Murray u Bismarka“, zamieszczony w Nr. 17. powtórzyło wiele pism polskich na Szlązku, w Prusach Zachodnich i w W. Ks. Poznańskiem. Redakcya nasza otrzymała mnóstwo listów w tej sprawie, zawierających gorące słowa uznania za publikacyą gorzkiej, ale zdrowej prawdy dla społeczeństwa polskiego. W samem mieście Poznaniu artykuł wywołał niezwykłą sensacyę.

—

„Goniec Wielkopolski“ rozpisuje się w nr. 110 nad pogrzebem ustawy przewrotowej i takie w sprawie Koła polskiego wypowiada opinie:

„Koło polskie głosowało de facto za ustawą przewrotową i poniosło klęskę. Znowu straciliśmy cząstkę uroku i powagi, jakie nam wobec Niemców przystoją — znowu powiększył się rozdział między społeczeństwem a Kołem parlamentarnem w obecnym składzie jego większości.

Koło polskie dostało zasłużoną naukę; na przyszłość niechaj mniej bawi się w dyplomacyą, niechaj okaże więcej łączności ze swymi wyborcami i więcej hartu, a niechaj nie schodzi ze stanowiska zasadniczego, bo to prowadzi na manowce.“

—

Jak wiadomo zaprzeczyła reprezentacya polska w parlamencie urzędowo twierdzeniu „Kuryera Pozn.“, *że p. dr. Krzymiński na posiedzenia Koła nie uczęszcza*, więc nie ma prawa w sprawach politycznych ogłaszać listu otwartego do wyborców swoich. Z powodu tego zamieścił „Orędownik“ w nr. 110 następujące uwagi:

„Oświadczenie Koła jest krótkie i skromne, ale mimo to piętuuje sposób, w jaki się „organ duchowieństwa“ obchodzi z posłem, jeżeli mu ten poseł jest niesympatyczny. Oświadczenie to piętnuje dosadnio sposób walki z przeciwnikami politycznymi pisma, które się narzuca publiczności naszej jako „organ“ duchowieństwa naszego, które głosi publicznie, że sobie wzięło za najwyższe zadanie — krzewienie zasad chrześciańskich i podtrzymywanie w narodzie miłości i zgody.

Co za ironia — jak na „organ duchowieństwa!“

Organ ten — z wiedzą — stara się oszczerstwami obrzucać niewygodnego posła i ażeby sobie włożyć koronę bezczelności, dodaje do urzędowego oświadczenia Koła dopisek: „prosimy o statystykę!“

. . . .

Pan dr. Krzymiński ogłoszenia statystyki z pewnością obawiać się nie potrzebuje, ale jakby wobec „statystyki“ wyglądały niektóre podpory „Kuryera“ w Kole?

„Kuryer“ wie o tem wszystkiem doskonale, ale w bezczelności swej udaje dobrą wiarę, ufając, że statystyka się nie ukaże, bo Koło — z góry to można przypuścić — do takiego życzenia „Kuryera“ się nie przychyli i przychylić się bez ubliżenia swej godności nie może. To jest ta furtka, którą ten „organ duchowieństwa“, używający moralnego kredytu naszego zacnego duchowieństwa tak, jak Milan, serbskich finansów, wymknąć się może przed następstwami swych kłamstw i oszczerstw; w pogoń nie potrzeba się za nim puszczać, bo każdy uczciwy człowiek wie, co sądzić o nim i jego doradzcach.“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Młodoczeskie *„Narodni Listy“* piszą z powodu stuletniej rocznicy urodzin Szafarzyka:

„Sto lat mija od chwili, w której urodził się narodowi czesko-słowiańskiemu w zapadłej wiosce podtatrzańskiej jeden z największych uczonych, mąż wielki duchem i sercem, Józef Szafarzyk. Nasza Akademia Umiejętności spełnia obowiązek w sposób należyty, czcząc pamięć uczonego. Ale naród nasz byłby niewdzięcznym, gdyby obowiązek ten chciał pozostawić niewielkiemu kołu uczonych i nie uczcił sercem swojem Szafarzyka, z tem ciepłem i zapałem, z jakim Szafarzyk czuł, cierpiał i za nas walczył. Złote to było serce, serce idealisty prawdziwego! Jeżeli Kolara przyrównujemy do Piotra, księcia apostołów, to Szafarzyk był Pawłem, który swoją wiedzą, nauką i zapałem spełnił misyą apostolską odrodzenia się narodowego. On to był twórcą idei solidarności słowiańskiej, on w treść jej wrósł, dla niej zapłonął ogniem nieugaszonym i w pracy pełnej poświęcenia do końca żywota wytrwał. Jego duch genialny i badawczy w zwycięstwo tej idei wierzył, a wiara ta silną była jak opoka. W solidarności słowiańskiej upatrywał on wielkość i siłę Słowiańszczyzny; natchniony ideą, przenosił ją na współczesnych. przeniósł i na nas. Całe swe życie walczył za nią, przenosząc wiarą góry, cierpiąc nędzę, usuwając przeszkody, które los przed jego stopy rzucał.

Głowę nosił wysoko ponad chmurami zawiści i przeciwieństw bezmiernych i zbudził w narodzie zaufanie do siły własnej, wiarę w zwycięstwo prawa i sprawiedliwości.

„Stracen jest ten, kto sebe strati“, dla tego wzywał nas do walki na śmierć lub na życie: „czy zginiemy, czy zwyciężymy dziś tego przewidzieć nie można; niech nam obojętnem będzie czy nasze czoła, czy grób splecie wieniec wawrzynu.“

„Aby dodać serca walczącym, podejmował badania naukowe, w których wykazał, że Słowianie porówno z Romanami i Germanami są narodem europejskim, plemieniem prastarem od niepamiętnych czasów w Europie osiadłem. Jogo „Narodopis slovancki“, to księga, którą według słów Jungmannna, każdy Słowianin przy sobie nosić powinien.

Dnia 27 czerwca upłynie lat 37 odkąd serce Szafarzyka bić przestało. Od tego czasu powstali u nas prorocy fałszywi, głoszący, że ideje Szafarzyka to utopie. Ale w narodzie czeskim jest pamięć Szafarzyka świętą, naród czeski nie przestał w to wierzyć, w co wierzył Szafarzyk...“

* * *

WŁADYSŁAW RABSKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

—

(Ciąg dalszy).

WOLSKI *(po chwili)*.

A więc z panem, hrabio Warecki, skończyłem. Lecz zanim dom ten opuszczę, pragnę z ust innych wyrok mój usłyszeć. Panno Marto! Wierzę słowom i przysięgom pani. Czekam wyroku.

(długa chwila milczenia)

MARTA.

Ojcze... ja ciebie usłuchać nie mogę... ja już do niego należę.

WARECKI.

Co? *(hamując się)* Namyśl się dobrze.

MARTA.

Przebacz... przebacz mi ojcze... dziś już zapóźno.

WOLSKI *(chwyta ją za rękę)*.

Marto! Teraz jam silny i niechaj nikt się nie waży stanąć między nami.

WARECKI *(hamując z trudem oburzenie)*.

Dobrze!... Wybieraj!... Gwałtem twej woli krępować nie będę, lecz między mną a panią Wolską obrus przecięty na zawsze. Jeżeli nie usłuchasz, ja stracę córkę, a ty stracisz ojca.

MARTA *(zbliża się do ojca)*.

Nie! ojcze, ty nie odepchniesz... przecież ja ciebie całą duszą kocham.

WARECKI *(cofając się)*.

Wybieraj!

WOLSKI.

Pójdź Marto! Nie błagaj! Wybór skończony, panie hrabio.

MARTA.

Ojcze!... zobaczysz... wszystko będzie dobrze... ale ja nie mogę.

WARECKI.

Więc idź! Idź natychmiast! Konie stoją na twoje usługi, a drzwi mego domu zamknięte dla ciebie.

(dzwoni).

MARTA *(chwyta go za rękę)*.

Nie, nie...

(wchodzi lokaj).

WARECKI *(do lokaja)*.

Powóz dla panny Marty. *(do Wolskiego)* Żegnam. Niech pani Melanja dla państwa Wolskich zgotuje gody weselne *(wydziera rękę z uścisków Marty i wraz z Karolem wychodzi drzwiami na prawo. Wolski i Melanja zbliżają się do Marty.)*

MARTA *(z płaczem tuli się do piersi Wolskiego)*.

Zygmuncie!

(Kurtyna spada).

Akt III.

(Scena przedstawia pracownią literacką, gustownie ale skromnie umeblowaną. Na stołach leżą porozrzucane dzienniki i książki. Drzwi od frontu i po lewej stronie. Po prawej stronie okno i telefon. Na kominku pali się ogień. Przy podniesieniu kurtyny siedzi Marta przy otwartem oknie i płacze; u stóp jej leży książka otwarta.)

Scena I.

Wolski i Marta.

WOLSKI *(wchodzi drzwiami po prawej stronie, milcząc przypatruje się przez chwilę Marcie, potem zbliża się i całuje ją w czoło)*.

Marto! co tobie?

MARTA.

A! to ty... Nic, nic... *(uśmiecha się przymusowo)*.

WOLSKI.

Ty coś ukrywasz przedemną. Przez pięć miesięcy pożycia naszego, te łzy już nieraz widziałem. Co tobie Marto?

MARTA.

Nic... zapewniam cię. Sama nie wiem, zkąd mi się bierze ta żałość.

WOLSKI.

Nieszczerą jesteś. Mów, co ci dokucza. *(Marta milczy)*. No! mówże, pragnę łzy twoje osuszyć. *(Marta wybucha płaczem nerwowym.*

Białogrodzka „*Serbska Zastawa*“ (Sztandar) pisze pod nagłówkiem „Srbsko-madjarsko prijatjelstvo“:

„Stosunek nasz do Madziarów nie był zawsze nieprzyjacielskim, w chwilach pod względem dziejowym ważnym częstokroć, następowało porozumienie. Porozumienie zawsze spowodowało skutki dla obu narodowości pożądane; Madziarży, ilekroć razy znajdowali się w położeniu krytycznem podawali nam rękę do zgody. Interwencya Rosyi i stłumienie powstania madziarskiego w roku 1849 pozbawiły Madziarów wszystkiego! nam Serbom i Rumunom żadnej przysługi Rosya nie uczyniła, bo żadnego pożytku nie osięgnęliśmy, mieli go tylko wspólni nasi wrogowie Niemcy, im to Rosya dopomogła.

Nastąpił peryod krwawej reakcyi, swoboda została Madziarom odjęta, patryotów madziarskich wtrącono do więzienia, wieszano na szubienicach. Wówczas to madziarskie dzienniki ogłosiły manifest drukowany cyrylicą do braci Serbów i do prasy serbskiej, na co im serbskie dzienniki białogrodzkie odpowiedziały w sposób przyjacielski, zapewniając pomoc moralną i gotowość do wspólnej walki.

Był to pierwszy objaw przyjaźni po dwuletniej walce orężnej i duchowej. Po tym pierwszym szybko następowały drugie. Zona Koszuta znalazła przytułek u serbskiego ministra Garaszanina, za co mu Koszut w osobnem piśmie dziękował, wykazując potrzebę porozumienia się pomiędzy obu narodami.

Literaci madziarscy tłomaczyli na język madziarski serbskie pieśni, nasi tłomaczyli Pesöfijago. Aranja i Jokaja. Sekretarz „Serbskiej Maticy“ był mile widzianym gościem w salonach arystokratów madziarskich i inteligencyi madziarskiej, pracujących nad podniesieniem oświaty ludu i rozmyślających o grzechach przeszłości. W ówczas to Madziarzy przysięgali Serbom wieczną przyjaźń.

Od roku 1859 do 1867 węzły przyjaźni się zacieśniły. Madziarzy nie chcieli zostać osamotnieni w walce o prawa narodowe. Serbowie wiernie walczyli obok Madziarów. Ostatni nie pomijali żadnej sposobności, ażeby swoją przyjaźń i sympatye Serbom okazywać. Przy takich okazyach wołali Madziarzy: Eljenek a Szerbek!“, a Serbowie odpłacali piękne za nadobne: „Ziwili Madjari!“

„We wszystkich zebraniach politycznych madziarskich brali udział Serbowie.

„Tak się działo aż do roku 1866, w którym wybuchła wojna austryacko-pruska. Madziarzy otrzymali wszystko, o czem marzyli, nie potrzebowali sojusznika, więc z przyjąźni serbskiej skwitowali.

Dziś stosunki zapanowały takie, iż Madziarzy popierają przeciw Serbom Chorwatów, przygotowując dla nich grunt w Bośnii i Hercegowinie, w ziemiach rdzennie serbskich. Czy ta polityka wyjdzie Madziarom na pożytek, wkrótce przyszłość okaże. Dziś już atoli nie ma wątpliwości, że Madziarzy się w rachunkach swych pomylili. Stronnictwo liberalne rej wiodące na Węgrzech znajduje się pod wpływem polityków niemiecko-żydowskich. Liberałom madziarskim bliżsi są duchem Chorwaci, wśród których żydzi poczesne już zajmują miejsce, kiedy Serba-żyda jeszcze dotąd nie ma. Dr. Franjo, żyd chorwacki stoi na czele stronnictwa prawa, ziejącego na nas Serbów jadem nienawiści. Dla tej żydowszczyzny Madziarzy wygrywają przeciw nam Chorwatów, ale czy to polityka istotnie madziarska, czy ztąd pożytek jakikolwiek mogą mieć Madziarzy, to wielkie pytanie.

Gdyby Madziarzy nad kwestyą tą głębiej się zastanowili, musieliby przyjść do przekonania, że polityka ta zgubną jest dla nich.

D. K.



PER KRAFFT.

„Przegląd Polski“ zamieścił w dwu pierwszych zeszytach z r. b. początek obszernej pracy dr. Jerzego Mycielskiego p. t. „Malarstwo w Polsce od r. 1764 do r. 1887. W zeszycie VIII (z lutego), wymieniając malarzy obcokrajowców, którzy już to chwilowo, już przez czas dłuższy w Polsce gościli, hr. Mycielski wspomina również o Kraffcie, malarzu szwedzkim i wyraża przypuszczenie, że i ten był w Polsce, a nawet na dworze króla Stanisława Augusta, skoro malował portret tego monarchy, oraz wizerunki osób znakomitszych owej epoki.

„Jak długo i w których latach bawił w Polsce portrecista szwedzki Krafft, — pisze dr. Mycielski na str. 300 i 301, — o nazwisku wcale głośnem ziomek szweda także, Roslina, owego po r. 1780 ulubionego między tylu innemi malarza dworu wersalskiego — wśród obecnych o nim danych dojść prawie niepodobna. Że był czas jakiś w Warszawie na dworze Stanisława Augusta, że w galeryi królewskiej cały szereg portretów rodziny Poniatowskich i bliskich królowi osób malował nie ulega wątpliwości; kopiował też dlań różne sceny mitologiczne, a nadto znaczną ilość obrazów i portretów, między któremi dwa Stanisława Augusta dostarczył ks. biskupowi warmińskiemu, Ignacemu Krasickiemu. Być też może, że przez najbliższą Szwecyi Warmią i mecenasa jej duchownego wszedł był w bliższe stosunki z Warszawą i z zastępem artystów na dworze Poniatowskiego. Niestety, jak prawie wszyscy malarze portretów tej epoki, płócien swych nie podpisywał i ztąd jedynie tradycya takowych autentyczność dotąd potwierdza. Co się stało ze zbiorem jego płócien w galeryi biskupa Krasickiego? — nie wiadomo nam; a z nich jedynie można by dziś ocenić wartość artystyczną malowideł Kraffta, który jednak musiał być portrecistą niezwykle zdolnym, skoro wśród tylu w Polsce najzdolniejszych cudzoziemców w tym fachu robił przecież wizerunki króla i najsłynniejszych tego czasu kobiecych piękności, a równie wybredny artystyczny smakosz, jak ks. biskup-poeta kilku jego utworami galeryę swą ozdobił. Szkoda też, że na wystawie ani jeden portret pendzla Kraffta, bodaj w przybliżeniu autentyczny, nie pozwalał ocenić wartości prac malarskich tego niezawodnie przez lat parę w drugiej połowie wieku XVIII w Polsce pracującego Szweda“.

Przypuszczenie to wyraził już był Edward Rastawiecki w t. I „Słownika malarzów polskich“, a powtórzył je w Encyklopedyi Orgelbranda K. Wł. Wójcicki. Data śmierci owego Kraffta, przytoczona u Rastawieckiego, i kilka szczegółów z życiorysu wskazują, że miał on na myśli portrecistę szwedzkiego Per (Piotra) Kraffta (ojca). Ponieważ zaś ten artysta malował rzeczywiście portrety polaków i, jak zobaczymy niżej, należy w pewnej mierze do tych malarzy, o których w pracy swej mówi dr. Mycielski, — uważam za słuszne podać tu jego życiorys.

Per Krafft urodził się w r. 1720 w miasteczku Arboga. Początkowo kształcił się pod okiem znanego malarza szwedzkiego Jana Henryka Scheffel'a. W r. 1755 wyjechał do Danii i przez dwa lata pracował u i dla hr. Otto Thott'a. Kopiował tam i malował portrety rodzinne, które i obecnie znajdują się w zamku Thott'ów Guanö na Seelandzie pod koniec roku 1766 udał się do Paryża na koszt hr. Thotta i tam zetknął się z Aleksandrem Roslinem (ur. w Malmö 1718, zm. w Paryżu 1793). W r. 1762 Krafft mianowany został malarzem nadwornym margrabiego Baireuth, następnie w latach 1764 i 65 pracował i kształcił się we Włoszech.

Wówczas właśnie otrzymał zaproszeni

Wolski siada przy niej na poręczy fotelu.) Marto! Żądam odpowiedzi, mam prawo do tego. Chcę znać przyczynę twojego smutku, bo z nieznanym wrogiem walczyć niepodobno.

MARTA (*wstaje i mówi urywanym głosem, wskazując na okno*).

Tam ojciec przechodził i Karol. Spojrzeli w okna i odwrócili się bez słowa, bez uśmiechu, bez ukłonu nawet.

WOLSKI (*smutnie*).

Ty tęsknisz. Przeczuwałem to, bałem się tego...

MARTA.

Ja niewinna, Zygmuncie, ja ciebie kocham (*tuli się do niego*), o! tak! ale widzisz... tam ojciec i brat. Więc nieraz łza się w oku zakręci i boleść szarpnie za serce.

WOLSKI.

Tak... Bezsilny jestem wobec takiej skargi... Gdyby nie te wybory, zabrałbym cię natychmiast i uciekł ztąd w inne strony, między innych ludzi. (*chwila zamyślenia*). Gdy walka się skończy, musimy na czas dłuższy opuścić miasto. (*wstaje*) Cierpliwości! Teraz nie mogę, muszę stać na posterunku. Raz trzeba skończyć z nimi, bo każdy dzień ich panowania to policzek dla narodowego honoru. (*po chwili*) A! ten Ruszczewski, ten Ruszczewski! Ja mu ufałem, — sądziłem, że on wśród organizmu obywatelstwa naszego jest cząstką zdrową i szlachetną, a on ziemią polską frymarczy jak pospolitym towarem. Karłowice! Klejnot prowincyi sprzedany, — gdzie spojrzysz, błoto i brud... Ale zkąd ten goły rezydent wziął grosze na Judaszowe kupno?

MARTA.

Mówiła ci Melanja, że spadek po bracie odebrał.

WOLSKI.

Hm! (*po chwili*) Ten brat się w grobie przewróci... Ale ukarałem handlarza. Artykuły napisane w tej sprawie zrobiły wrażenie, i jeżeli twój szlachetny kuzyn ma jeszcze odrobinę wstydu, to przeczytawszy je, rumieńcem oblać się musiał.

MARTA.

Biedny starzec! Z plamą na czole do trumny się położy. Może on niewinny, może musiał sprzedać; przecież nie znamy bliższych szczegółów tej sprawy!

WOLSKI (*gniewnie*).

Więc któż winien? O! nie broń ich. Dla nich już nie ma ratunku i prędzej czy później ustąpić muszą. Dziś piątek, a w środę wybory. Pięć dni tylko dzieli nas od chwili, której samo istnienie jest dowodem reformy w stosunkach naszych. Po raz pierwszy stajemy do śmiertelnej walki. Świt przeciw mrokom! Wisłowski contra Warecki.

MARTA (*smutnie*).

Przeciw Karolowi, przeciw ojcu... (*po chwili*) Ta twoja „Trybuna“ to ostrze noża, które tu się wpija (*wskazuje na piersi*). Lecz boleść moja, cóż ona ciebie obchodzi?! Ty masz twój dziennik i twoich Wisłowskich.

WOLSKI (*zniecierpliwiony*).

Znowu ten lament; tyś moją żoną i moje zasady winny być twojemi.

MARTA.

Krwi mojej zaprzeć się nie mogę. To brat mój jedyny, to ojciec.

WOLSKI.

To wróg!

MARTA.

Nie mów tak. Czy wiesz? Ja czasem dziwnie się boję... i mam czasem chwile takie, w których patrzę na ciebie jak na obcego.

WOLSKI (*z wzrastającem oburzeniem*).

Do mnie należysz i kochać to będziesz, co ja ukochałem, — nienawidzieć, co ja nienawidzę.

MARTA.

Zygmuncie!

(*wchodzi Melanja.*)

Scena II.

Ciż i Melanja.

MELANJA.

Co tu się stało?

WOLSKI (*ostro*).

Wolska o hrabiance Wareckiej zapomnieć nie chciała.

króla Stanisława Leszczyńskiego i przybył do Nancy. Otrzymawszy godność malarza dworu filozofa dobroczynnego, przebywał w Nancy aż do roku 1768*), a więc i po śmierci króla.

Po powrocie w r. 1773 do Szwecyi mianowany został profesorem akademii i malarzem nadwornym królewskim. Umarł w Sztokholmie dnia 7 grudnia 1793 r. Syn jego, Per Krafft, również malarz portrecista, (ur. w r. 1777, zm. w r. 1863). Kształcił się w Paryżu u Davida. Powróciwszy w r. 1806 do Szwecyi, nie wydalał się już z rodzinnego kraju, a w Polsce nie był nigdy.

Być może, że przebywając na dworze Stanisława Leszczyńskiego, Per Krafft (ojciec) dostał zaproszenie od kogoś z rodziny Poniatowskich, czy od samego Stanisława Augusta i udał się do Polski — jednakże ani w jego życiorysach, ani we współczesnych dziennikach szwedzkich, które Roslinem i Krafftem interesują się żywo, ani wreszcie w pamiętnikach z tej epoki, żadnej o tym jego pobycie w Polsce wzmianki nie znajdujemy.

W katalogu p. t. *„Spis obrazów, znajdujących się w galeryi i pokojach pałacu willanowskiego,* wydanym w Warszawie 1834, pod N. 484 wymieniony jest portret hr. Rzewuskiej, drugiej siostry hr. Stanisławowej Potockiej, malowany przez Grafta.

W r. 1875 p. H. Bukowski nabył w Sztokholmie znaczną część spuścizny artystycznej po Kraffcie młodszym od jego dzieci, a nadto sześć malowideł Per Kraffta ojca. W liczbie tych ostatnich był bardzo piękny portret króla Stanisława Leszczyńskiego, wymalowany w Nancy w r. 1765, oraz portret naturalnej wielkości Jerzego Michała Potockiego, ambasadora Rzeczypospolitej przy dworze szwedzkim i autora dziełka p. t. „Histoire de l'assassinat de Gustave III, Roi de Suede par un officier polonais, témoin oculaire“, — wykonany przez Per Kraffta w Sztokholmie. Ten wizerunek zapewne wskutek nagłego wyjazdu ambasadora Potockiego ze Szwecyi nie był wykupiony od malarza i pozostawał w posiadaniu jego syna, a później wnuków aż do r. 1875, w którym to czasie za pośrednictwem J. I. Kraszewskiego, przeszedł z rąk p. H. Bukowskiego na własność ś. p. hr. Augustowej Potockiej i obecnie znajduje się w galeryi Wilanowa.

Warto byłoby porównać portret hr. Rzewuskiej. malowany przez Grafta i portret Jerzego Michała Potockiego, aby skonstatować, czy te dwa malowidła jednego są pędzla. Historya portretu hr. Rzewuskiej, znana zapewne, mogłaby się przyczynić do wyjaśnienia zagadki. Może ten portret pochodzi ze zbiorów biskupa Krasickiego, albo Stanisława Augusta, może należy do szeregu malowideł, które wymienił Rastawiecki z rękopiśmiennego katalogu p. t. „Catalogue des Tableaux apartenants à Sa Maj. le Roi de Pologne 1793? Jeżeli jest utworem naszego Per Kraffta (ojca), to zapewne nosi jego podpis, gdyż ten artysta zazwyczaj podpisywał się na swych obrazach. Ile jest znanych i niewątpliwie autentycznych prac jego malarskich, wszystkie zaopatrzone są w jego nazwisko. Na dowód przytaczam z nich kilka. Portret Gustawa Wazy, który znajdował się w zbiorze Adolfa von Liebermanna, (opisany szczegółowo w „Die Gemälde-Galerie... Adolf von Liebermann...“ Köln 1894. Str. 68), nosi nietylko sygnaturę, ale nadto i datę: „P. Krafft pinx. 1778“. Portret Olofa Kexell (opisany w „Christofer Eichhorns efterlemnade Samlingar Stockholm 1890“ na str. 45) nosi również sygnaturę: „Krafft p. 1774“. Portret Daniela Lithandera, (opisany tamże) nosi napis: „P. Krafft p. 1792“. Nawet na kredkowym rysunku, znajdującym się obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Rapperswylu, który stanowi szkic do portretu Jerzego Michała Potockiego — Per Krafft położył swe nazwisko. *S. Z.*

*) Svenskt biografiskt Handlexikon.. af Herm. Hofberg. Förra Delen. Stockholm 1876“. Str. 525.

Stosunki literackie Rusi halickiej

(Ciąg dalszy).

Najwybitniejszą postacią literatury ruskiej jest bez wątpienia Iwan Franko. Urodził się on 3 sierpnia r. 1856 we wsi Nabujowicze powiatu drahobyckiego w prostej, choć dość zamożnej chacie włościańskiej. Ojciec jego, rozwinięty włościanin, nie szczędził zachodów, byle dać synowi jakie takie wykształcenie. To też jak tylko Iwan ukończył lat pięć, ojciec oddał go do szkoły ludowej we wsi sąsiedniej. Po dwóch latach przeszedł Iwan do drugiej klasy „normalnej“ szkoły w Drohobyczu, prowadzonej przez OO. Bazyljanów. Nieśmiały chłopak, ubrany po chłopsku był przez długi czas celem drwin kolegów i prześladowań ze strony nauczycieli, ale ku powszechnemu zdumieniu już przy pierwszym egzaminie otrzymał stopień celujący i nawet nagrodę za dobre postępy w nauce. Wkrótce po wstąpieniu Iwana do szkoły bazyljańskiej, zmarł jego ojciec, pozostawiając młodą wdowę z czworgiem nieletnich dzieci. Gospodarstwo Franków poczęło się chylić ku upadkowi, i młoda wdowa zmuszona była wyjść zamąż powtórnie. Ojczym Iwana podźwignął gospodarstwo z upadku i szczerze zajął się losem pasierba. Kiedy Iwan ukończył szkołę normalną, ojczym postarał się umieścić go w gimnazjum drohobyckim. Tu powtórzyła się ta sama historyja, co u Bazyljanów. Niepozornego chłopaka posadzono początkowo na „oślej“ ławce, ale już wkrótce, dzięki swym wybitnym zdolnościom i fenomenalnej pamięci, Iwan zwrócił na siebie uwagę wszystkich nauczycieli i aż do ukończenia gimnazjum był jednym z najlepszych uczni.

Już w czwartej klasie zapoznał się Franko dość dobrze z klasykami zachodnio-europejskimi, z koryfeuszami literatury polskiej, tudzież z niektórymi pisarzami ukraińskimi. Pod wpływem tej lektury począł sam próbować pisać poezje, powiastki i nawet dramata, a oprócz tego przełożył kilka urywków z „Odysei“, „Urjela Akosty“, „Nibelungów“, cały „Rękopis królodworski“, „Antygonę“ i „Elektrę“ Sofoklesa. Skończywszy w r. 1876 gimnazjum, Franko przyjechał do Lwowa i zapisał się na wydział filozoficzny uniwersytetu. Tu od razu znalazł się w atmosferze gorących sporów narodowych, które dla niego, jako przybysza z zapadłego kąta prowincjonalnego, były bardzo mało zrozumiałe. Wskutek tego wahał się bardzo długo, nie wiedząc, do którego stronnictwa ma się przyłączyć i nareszcie wstąpił w poczet członków moskalofilskiego stowarzyszenia „Akademiczeskij Kružok“ głównie z tego powodu, że to stowarzyszenie studenckie wydawało własny organ „Druh“.

Wkrótce Franko stał się jednym z najruchliwszych współpracowników studenckiego organu, w którym zamieścił cały szereg poezyi i dłuższą powieść „Petrji i Dowbuszczuki“. W sporach kółkowych nie brał Frank prawie żadnego udziału i, aczkolwiek był zmuszony drukować swe utwory w „Druhu“ w żargonie moskalofilskim, ale dla siebie pisał po wesołemu i to fonetyką.

Od połowy r. 1876 w redakcyi „Druha“ począł zwyciężać kierunek narodowy dzięki wpływowi Michała Dragomanowa, znakomitego pisarza ukraińskiego i profesora uniwersytetu kijowskiego. Prof. Dragomanow w całym szeregu listów do redakcyi „Druha“ wyjaśnił zadania inteligencyi ruskiej i wskazał jej drogę, na której mogłaby przynieść prawdziwą korzyść swemu społeczeństwu i ludowi. Autor listów do redakcyi „Druha“ gorąco zachęcał młodzież do poznania prawdziwej rosyjskiej literatury, całkiem słusznie spodziewając się, że młodzież, zapoznawszy się bliżej z literaturą rosyjską i przejąwszy się jej postępowo-demokratycznymi ideami, zabierze się szczerze do pracy na korzyść mas ludowych; że porzuci on wstrętny żargon moskalofilski i pocznie przemawiać op

---

MARTA.

Powiedz... nie mogła! *(zanosi się płaczem i wychodzi drzwiami na lewo).*

Scena III.

Wolski i Melanja.

WOLSKI. *(chwila milczenia, Wolski spogląda za Martą a następnie rzuca się w fotel z ciężkiem westchnieniem.)*

A!... Nić życia wikłać się zaczyna... A jednak to być nie może... ona musi być szczęśliwą.

MELANJA.

Panie Zygmuncie! Te małe chmury to zapowiedź burzy. Marta w tym nowym świecie znalazła chłód i pustkę. Wybacz pan... ja nie chcę dotknąć ideałów twoich... ja się na tem nie znam... ale zdaje mi się, że ludzie, któremi Martę otoczyłeś, rażą ją i dręczą. Jej brak tej subtelnej delikatności uczuć... tych artystycznych pierwiastków życia, które otaczały ją w domu ojca, wśród dawnych znajomych. Jej tu zimno i cudzo.

WOLSKI.

Rozumiem. To surowe bryły żelaza, które z ziemi wydobywam, — nie onyksowe kamee, nie rzeźby misterne. Ale wytworność Medyceuszów to dekadencyi znamię, ta szorstkość ludowa to zdrowie i siła.

MELANJA *(z smutnym uśmiechem).*

Być może, ale trybun ludu nie zmieni Medyceuszki i snuć się dalej będzie wątek tragedyi.

WOLSKI.

O tak. *(wstaje)* Ta myśl mi głowę rozsadza. Gdybym mógł stworzyć dla niej inne otoczenie, gdybym mógł pamięć z duszy jej wyszarpać lub dać złudzenie przeszłości! Szukam... szukam naprożno. Tęskni za ojcem i bratem, a miłość dla mnie usycha.

MELANJA.

Wyjeżdżajcie! Jedźcie na południe. Tam odetchnie i zapomni może. A tu tęsknota snuje się pasmem nieprzerwanem, — każdy dom, każdy kamień jest dla niej wspomnieniem.

WOLSKI.

Tak... tak... wyjedziemy... ale nie teraz. Wybory za pasem a potem pokłosie walki. *(Po chwili.)* Sądziłem, że zapomni o nich, lecz mój rachunek psychologiczny omylił, — przeliczyłem się... Gdyby jeszcze w tych ścianach dziecko zakwiliło, wtedy może... może...

MELANJA.

Odwagi! i nie czekajcie z podróżą. Dla mnie to pustka i noc... ale o was chodzi.

WOLSKI *(całuje jej ręce).*

Gdybyś ty, siostro, mogła w nią przelać cząstkę swej duszy kochającej!... Ale to naprożno... *(opuszcza głowę).*

MELANJA.

Ja siostra... tak.. a jednak...

WOLSKI *(chwila milczenia).*

O! nie mów ty nic, pani. Dusza ludzka musi wierzyć w cośkolwiek tą wielką, promienną ufnością dziecka, która nie zna żadnych ograniczeń. Nie analizuję nigdy naszego stosunku i nie chcę uświadomić sobie ram naszej przyjaźni. Zdaje mi się, że ona bez końca i bez początku.

MELANJA *(w zamyśleniu).*

Bez końca...

WOLSKI.

O! tak. W promieniach twojej przyjaźni dojrzało szczęście moje, a dziś, gdy między mnie a Martę wciska się ten upiór straszny, ten przeklęty głos krwi, ty. pani, czuwać będziesz nad nią. *(ujmuje ją za rękę)* Nieprawda? Ty skruszyłaś niegdyś jej bojaźń przed ojcem i dziś nam będziesz aniołem stróżem.

MELANJA *(nerwowo.)*

A jeźli siły opuszczą? Jeżeli serce gwałtem tłumione zbuntuje się i twój anioł, panie Zygmuncie, stanie się... kobietą?

WOLSKI *(niespokojnie).*

Kobietą?

MELANJA *(z wzrastającem uniesieniem).*

Cztery lata męki, ale w końcu wszystko się łamie. Lękałam się litości twojej i milczałam jak grób... Potem Marta stanęła między nami... cierpiałam bardzo... ale nic nie mówiłam i mówić nie mogłam, bo ciebie stracić nie chciałam... Byłbyś urągał, przeklinał może...

ludu w jedynej dla niego zrozumiałej mowie, t. j. w małoruskiej.

Słowa prof. Dragomanowa wywarły na młodzieży bardzo wielkie wrażenie. „Druh“ z pisma żargonowego przekształcił się na małoruskie stowarzyszenie młodzieży ruskiej przekonań narodowych „Drużnyj Łychwiaz“ łączy się z „Akademiczeskim Krużkiem“, który staje się ogniskiem ruchu narodowo-demokratycznego wśród młodzieży. Młodzież ta wydaje zbiorek różnych utworów „Dnistrianka“, w którym Frank zamieszcza pierwsze swe opowiadanie z życia ludowego.

Tymczasem w „Druhu“ ciągnęły się dalej „Petrji i Dowbuszczuki“, powieść rozpoczęta pod wpływem opowiadań fantastycznych Hofmana, a skończona w całkiem już innym duchu, z pewną tendencyą społeczną. W „Druhu“ również ukazała się jego poezya „Najmita“ tudzież szereg obrazków z życia robotników, zatrudnionych w kopalniach bożysławskich.

Podczas studyi uniwersyteckich Franko czytał bardzo dużo i dokładnie zapoznał się z głównymi przedstawicicielami powieści europejskiej: Zolą, Flaubertem, Spielhagenem, Tołstojem i Turgeniewem. Ale studya zostały przerwane przez proces, który spadł na Frankę całkiem niespodziewanie. Aresztowano go wraz z całą redakcyą „Druha“, oskarżoną o zawiązanie tajnego związku rewolucyjnego. Śledztwo trwało przeszło siedm miesięcy i w końcu Frank został skazany na areszt sześciumiesięczny. Tak sam proces jak i wyrok był dla niego zupełnie niespodziewany, ponieważ Franko do żadnej winy nie poczuwał się i do żadnego tajnego związku, ma się rozumieć, nie należał. „Dziewięć miesięcy, spędzonych w więzieniu były dla mnie prawdziwą katuszą — powiada sam Franko w swej autobiografii. Traktowano mię jak zwykłego zbrodniarza. Siedziałem pomiędzy złodziejami i włóczęgami, których bywało ze mną w jednej celi po 14—18. Przerzucano mię z jednej celi do drugiej, męcząc ciągłemi rewizyami, głównie z tego powodu, że „pisałem“ t. j. zapisywałem na przypadkowo otrzymanych kartkach papieru pieśni i przysłowia od swych współwięźniów lub własne poezye. Kilka tygodni przesiedziałem w ciemnej celi o jednym tylko oknie, w której mieściło się dwunastu aresztantów. Więźniowie ustępowali mi „najlepsze“ miejsce pod oknem, naprzeciwko drzwi. A ponieważ okna nigdy nie zamykano, więc codziennie budziłem się osypany śniegiem.“ Ale więzienie było jeszcze niczem w porównaniu do tego, co musiał znieść od własnego społeczeństwa po wyjściu na wolność. Wyłączono go z liczby członków towarzystwa „Proświta“, zabroniono mu przychodzić na gazetę do kasyna ruskiego „Besida“, a ludzie, którzy miewali do niego jakiś interes, widywali się z nim tylko potajemnie.

Tymczasem Franko nawiązał przerwane studya uniwersyteckie i pilnie pracował nad własnym wykształceniem. Nie przerywał również i pracy literackiej, zamieszczając swe utwory w organach młodzieży (Hromadskyj Druh“, „Dzwin“ i „Mołot“), wydawanych przy jego pomocy przez M. Pawlika. Tu zamieścił powieść „Boa Constrictor“ i kilka drobnych poezyi tudzież szereg artykułów krytycznych. Starsza inteligencya, zwłaszcza duchowieństwo wrogo odnosiło się do działalności młodzieży, Sama zaś młodzież była jeszcze tak słaba, że nie mogła utrzymać żadnego ze swych organów przez czas dłuższy. Brakowało jej również i przygotowania teoretycznego. Po wyjeździe Pawlika za granicę począł Franko wydawać „Drobną bibliotekę“ — szereg broszur treści popularno-naukowej, przeważnie tłumaczonych.

Z biegiem czasu zawięzuje Franko stosunki i z polskim światem literackim i poczyna pisywać do pism polskich. W r. 1881 począł wydawać razem z Bełejem pismo literacko-naukowe „Świt“, w którym zamieścił kilka artykułów naukowych, część obszernej powieści z życia robotników i dużo poezyi tak oryginalnych jak i tłumaczonych. Ale już w roku następnym zmuszony był z braku środków do życia powrócić do wsi rodzinnej — Natujowicz — gdzie przebywał prawie dwa lata, zajmując się pracą w polu, przekładając „Fausta“ i przygotowując artykuły do „Świtu“. W r. 1883 jego powieść historyczna „Zachar Berkut“ przysłana na konkurs, rozpisany przez redakcyą pisma „Zorja“, otrzymała pierwszą nagrodę. Narodowcy zwrócili baczną uwagę na młodego pisarza i kiedy Frank powrócił do Lwowa, zaprosili do współpracownictwa w głównym swym organie „Diło“. W piśmie tem drukowały się liczne artykuły Franki w kwestyach społecznych i ekonomicznych. Artykuły te, jak również i niektóre broszury jego, wydane przez towarzystwo „Proświta“, zwróciły na siebie powszechną uwagę. Aczkolwiek Franko pracował w wydawnictwach narodowców, jednakże nierzadko musiał walczyć z ich wstecznemi tendencyami. Narodowcy tolerowali go jako najzdolniejszego pisarza galicyjskiego, ale zupełnie nie podzielali jego poglądów, co go bardzo krępowało. Czas jakiś redagował Franko „Zorję“, ale wkrótce musiał się zrzec tego, ponieważ w żaden sposób nie mógł dogodzić wymaganiom areopagu narodowieckiego. Począł on pracować w pismach polskich („Kraj“, „Prawda“, „Głos“), wydawanych za kordonem, a w r. 1887 wstąpił do redakcyi „Kuryera Lwowskiego“, gdzie pracuje i dotąd. Współpracownictwo w pismach polskich nietylko zapewniało mu zarobek trwały, ale i niezależność.

Z r. 1887 działalność Franki bardzo się wzmaga. Pisze on opowiadania, poezye, artykuły krytyczne i naukowe, przekłada, koresponduje do pism różnych i t. d. Obok tego poczyna Franko grać wybitną rolę i na arenie politycznej jako jeden z najpierwszych członków stronnictwa radykalnego. W r. 1893 Franko doktoryzuje się we Wiedniu, a w następnym poczyna wydawać pismo „Żytie i Słowo“, w którem zamieszcza mnóstwo cennych artykułów, przeważnie z dziedziny historyi literatury i folubrystyki. Przed miesiącem habilitował się Frank na uniwersytecie lwowskim, pragnąc zająć katedrę literatury ruskiej.

Pierwsze poezye Franki ukazały się w organie studenckim „Druh“; nie przedstawiają one nic godnego uwagi ani pod względem myśli, ani pod względem formy. Są to utwory romantyczno-patryotyczne, pisane dość wadliwym językiem, jakich setki drukowały się wówczas po pismach ruskich. W „Baladach i opowiadaniach“, wydanych w r. 1876 Franko również nie przejawił wielkiego uzdolnienia, aczkolwiek forma tych utworów jest już znacznie doskonalsza. Ale już we dwa lata po wydaniu „Balad i opowiadań“ w piśmie „Dzwin“ ukazuje się jedna z najpiękniejszych poezyi Franki „Kamieniarze“. Wszystkie poezye Franki, napisane po roku 1878 ogromnie różnią się od jego pierwszych prób. Jednostronny nacyonalizm ustępuje w nich miejsca szerszym, ogólnoludzkim ideałom. Poezye Franki — to owoce prawdziwego natchnienia. Wszystkie są przeniknięte szczerą miłością do poniżonych i gnębionych, tak że Frankę zupełną słusznością można nazwać poetą pracujących, cierpiących, prześladowanych, dążących do światła warstw społecznych. Najlepszym utworem poetyckim Franki jest poemat „Pańskie żarty“. Akcya toczy się za czasów pańszczyzny w Galicyi. Bogaty dziedzic, niesumiennie wyzyskujący swych poddanych napotyka opór ze strony kochanego przez wszystkich włościan starego księdza wiejskiego, który wszelkiemi siłami stara się chociażby trocha ulżyć gorzkiej doli chłopów. Za jego namową włościanie zakładają szkołę i wyrzekają się pijaństwa. Oburzony na księdza, dziedzic każe swym sługom zamknąć kościół, do którego chłopi mieli się zgromadzić, aby przysiądz, że nie będą już używali gorzałki, i pomimo to, że sprawa dzieje się na Nowy Rok, każe chłopom pójść do lasu rąbać drwa. Mało tego, zmusza on do pracy i staruszka-księdza, który w skutek tego [illegible] umiera. Niebawem do wsi zjeżdża starosta ze

---

więc między nią a tobą nie stanęłam nigdy i własnemi rękami usłałam wam gniazdo. Tak!... Chwilami tylko marzyłam, że kiedyś odzyskam ciebie, chociażby nawet kosztem sumienia... za cenę grzechu...

WOLSKI.

Pani! (*cofa się.*)

MELANJA.

Nic, nic. Sama już nie wiem co mówię. Nic już, nic... Szaloną jestem... Panie Zygmuncie! ja nic nie powiedziałam... myśli się plączą... ja...

(*Słychać dzwonienie.*)

WOLSKI (*zimno*).

Racz, Pani, wybaczyć, ale idą towarzysze pracy i boju na radę wojenną. Tam Marta we łzach, pani jej ból ukoisz. (*bierze ją za rękę*) Nieprawda, siostro? Ty czuwać będziesz nad tą, którą za cenę życia uszczęśliwić pragnę, nad żoną i kochanką moją.

MELANJA (*z wysiłkiem.*)

Tak... będę się starać. Do widzenia! (*zwraca się ku drzwiom*) Wyjeżdżajcie! To lepiej dla was i dla mnie (*wychodzi drzwiami po lewej stronie*).

WOLSKI (*sam*).

I tu się plącze nić moja... Jeżeli i ona zawiedzie...

(*Wchodzi Wisłowski i Kostecki.*)

Scena IV.

Wolski, Wisłowski, Kostecki, w końcu Frania.

(*Wisłowski robi wrażenie ogładzonego parwenjusza. Cechuje go sztuczna wyniosłość. Mówi z pewną pretensyonalnością, akcentując silnie zwroty i słowa zapożyczone z obcych języków. W Kosteckim znać zapał młodzieńczy i fanatyzm. Ubranie jego niedbałe.*)

WOLSKI.

A! to wy... (*witają się*) Czekałem na was.

WISŁOWSKI.

W tej chwili wracam z placu boju. Zaprezentowałem się po raz ostatni wyborcom, naszkicowałem mój program, ale... (*wzrusza ramionami*).

WOLSKI.

I cóż?

KOSTECKI.

Wareccy i Ostrzyński z demoniczną zręcznością prowadzą agitacyę. Naszym *bourgeois* imponują bibki w towarzystwie hrabiowskiem, a chłop tak głosuje jak mu dziedzic każe.

WOLSKI.

Więc nie ma widoków?

WISŁOWSKI.

Nadzieja jest słaba. Sądziłem, że artykuły w sprawie Ruszczewskiego wzniecą iskrę buntu przeciw senatorom, ale Metternichowskie *ésprit* tej kliki ocaliło sytuacyę. Warecki wystąpił wczoraj z mową fulminującą i sam napiętnował postępek kuzyna. Mowę tę wydrukowano i rozrzucono w tysiącach egzemplarzy. (*dobywa z kieszeni kartkę papieru*) Słuchajcie! (*czyta*) „Wyborcy! Ponieważ w kronice życia obywatelskiego sprzedaż Karłowic łzami się zapisała, a tłum oszczerców i burzycieli wypadek ten przeciw kandydaturze mojej wyzyskał, zatem staję tu przed wami do publicznej spowiedzi. Przystępowała do mnie pokusa w postaci złota kolonizacyjnego, ale milszą mi ziemia ojczysta niż błyszczący kruszec. Odrzuciłem świetne propozycye, straciłem niemało, lecz rodakowi klucz Karłowicki oddałem bez żalu i bez wahania. Niestety nowy właściciel zawiódł oczekiwania moje i zrzuciwszy maskę stanął przed nami jako spekulant niegodny.“ (*przerywa czytanie*) No i tam dalej! (*śmieje się*) *Plaudite cives!* Na zdradzie Ruszczewskiego urósł Warecki do wyżyn bohatera.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Lwowa w celu rozpatrzenia sprawy. Starosta zatrzymuje się we dworze, pije i poluje razem z dziedzicem, a w czasie wolnym od tych zajęć, usiłuje wszelkimi sposobami wydusić z włościan zeznania na korzyść dziedzica. Ale pomocnik starosty, komisarz-Niemiec, zawzięty wróg osobisty dziedzica, radzi chłopom wysłać do Lwowa pełnomocników ze skargą na pana. Włościanie postępują według rady komisarza, ale dziedzic, dowiedziawszy się o tem, łapie pełnomocników na drodze, każe ich oćwiczyć i zamknąć do chlewa, a sam poczyna jeszcze gorzej postępować z chłopami. Minęła zima, a na wiosnę zniesiono pańszczyznę. Do wsi zjechał komisarz, aby przeczytać chłopom patent cesarski. Jednak obywatel ani słuchać nie chce o zniesieniu pańszczyzny; każe schwytać komisarza i zamknąć go w psiarni, zkąd go wyratowują chłopi. We wsi wybucha bunt; dziedzic zostaje aresztowany i wywieziony do Lwowa. Tłum włościan widział jak go prowadzono ze związanemi rękoma przez wieś, ale ani jedno słowo pogardy, ani jeden krzyk nienawiści nie wydobył się z ich ust. We dworze została żona dziedzica z dziećmi. Otóż chłopi, pomni, że dziedziczka pomagała im niekiedy, postanawiają pracować dla niej. Mało tego, jadą do Lwowa i przyczyniają się do uwolnienia dziedzica z więzienia.

Leon Wasilewski.

(Dokończenie nastąpi.)

Do przyszłości.

O! kocham cię, przyszłości pełna słońca
I pełna walk i żelaznego zgrzytu!
I dusza ma w pragnieniu czeka drżąca,
Rychłoli brzask nowego zalśni świtu.
I dusza ma — wyciąga swe ramiona
Do ciebie tam, w dalekie aż przestworza,
Gdzie czekasz ty, zaklęta i uśpiona.
Aż zbudzi cię pożarów krwawa zorza.

O! kocham cię, choć wiem, że twoje przyjście
I dary twe poprzedzą nowe klęski!
I dusza ma tak teraz drży jak liście,
Choć słyszy gdzieś tryumfu krzyk zwycięzki,
I dusza ma od bólu aż zamiera,
Że jasnych dni doczekać się nie może,
Bo otchłań się przed wzrokiem jej roztwiera
I widzi łez wezbrane wielkie morze.

O! kocham cię, choć wiem, że mimo tylu
Okupień z krwi, boleści i pogromów,
Na które się od dawna wieki silą,
Ty ledwie krok postąpisz śród przełomów.
O! kocham cię, bo jednak krok ten zbliży
Nam znowu kres tak dawno upragniony,
I piersi znów odetchną wolniej, szerzej,
I pieśni dźwięk popłynie na zagony!

K. F. W.



ŻYCIE SPOŁECZNE.

Listy z Berlina.

Dnia 16 maja 1895.

(Słowo nad grobem ustawy przewrotowej. — Dr. Arons. — Zjazd kobiecy w Monachium. — Wystawa sztuki. — Pan zmartwychwstały).

Odrzucenie ustawy przewrotowej nie było pono niespodzianką nawet dla jej autorów, nikt jednak nie spodziewał się, że nieboszczyk skończy tak nagle, że żegnany będzie tak wesoło i że ojcowie jego tak zupełną poniosą porażkę. Trzeba bowiem przyznać, że nie była to już porażka, lecz kompromitacya dla rządu. Rozpocząwszy od bardzo poważnych rozpraw nad § 111 i potem 112 odrzucano wśród wesołości i śmiechu wszystkie następne, tak, że kilka minut wystarczyło, aby cały projekt, elaborat tylu miesięcy, przedmiot tylu sporów zakwalifikowany został do kosza. Co powiedziały na to cesarskie orły, które tysiącami oczu patrzą z platform, z loży dworskiej, wieszcie z każdego krzesła i mówić się zdają, że całe to zgromadzenie przedstawicieli ludu, to tylko forma, w którą się zlewa cesarskie rozkazy. Niewątpliwie i same rozprawy usposobiły odpornie niejednego z tych, co pierwszego dnia byłby głosował za jakimś paragrafem w brzmieniu komisyi lub ustawy rządowej, ale jakkolwiek świetne były przemowy, zwłaszcza ze strony demokratów społecznych Auera i Bebla, zwyciężyli przecież nie tyle oni, co nacisk opinii wogóle. Może od czasów 48 roku duch opozycyjny nie wyraził się tak masowo, tak jasno, jak z powodu ustawy. Niemiec bowiem przyzwyczajony do ładu i porządku, do posłuszeństwa wobec wszelkiej władzy, tylko w razach nadzwyczajnego podniecenia w wyraźnej staje opozycyi.

Zresztą pocóż ustawa przewrotowa, skoro i tak za przekonania demokratyczne każdy staje pod pręgierzem i podlega wyjątkowemu prawu. Za najświeższy przykład w tym rodzaju posłużyć może dr. Arons, którego z powodu jego socyalistycznych przekonań postanowiono usunąć z katedry fizyki, którą zajmuje w uniwersytecie jako docent prywatny. Zaznaczyć przytem wypada, że dr. Arons, zdolny specyalista, nie zajmował w partyi żadnego stanowiska, że publiczne jego występy ograniczały się do chwilowych nieporozumień z partyjnym zarządem a w wykładzie fizyki już z natury samego przedmiotu na młodzież oddziaływać nie mógł. Usunięcie z uniwersytetu nie przeszkodzi mu pracować dalej naukowo, bo jest człowiekiem zamożnym, a aureola męczeństwa dopomoże zapewne do pozyskania wpływu w partyi. Oto nietakt w sprawie człowieka prywatnego, — podobny, jaki zaznaczył się w kwestyi świeżo pogrzebanej ustawy.

Rząd ma ciężką, ale nieszczęśliwą rękę!

Do objawów pomyślnych w ruchu społecznym zaliczyć niewątpliwie należy Zjazd ogólny kobiet niemieckich w Monachium w dniach 16 i 17 kwietnia. Stawiły się tu przedstawicielki dążności emancypacyjnych z północy i południa, jakkolwiek południe mniej śmiało dotąd w sprawie równouprawnienia występuje. Kobiety niemieckie dążą przecież tymczasem do usunięcia wszelkich haseł politycznych, aby uniknąć rozszczepienia się na partye i wysuwają na plan pierwszy kwestye, które ogół niewieści interesować mogę i powinny. Takie ogólne kwestye zgrupowały w Stanach Zjednoczonych 700,000 kobiet. Związek przyjmuje całe stowarzyszenia, które po za tem mają zupełny samorząd. Na wzór amerykańskich zjednoczeń i pod wpływem amerykanki Mrs. Simson, a pod przewodnictwem p. Augusty Schmidt utworzył się przed pół rokiem „Bund deutscher Frauenvereine“, który obejmuje dziś 35 tysięcy członków ugrupowanych w 60 stowarzyszeniach. Na porządku dziennym stała sprawa inspektorek fabrycznych, uznanych za niezbędne w okręgach, gdzie pracuje niemal tyle, a czasem i więcej kobiet niż mężczyzn, n. p. w Saksonii. Sprawa ta cieszy się ogólnem poparciem niewieściego świata, ale ze strony rządu nie uczyniono w tym kierunku żadnych jeszcze kroków. Mniej popularną, jakkolwiek dojrzalszą pod względem prawodawczym jest kwestya prostytucyi. Stowarzyszenia kobiece podawały już kilkakrotnie prośby o jej zniesienie, a przedstawicielki stowarzyszeń przed paru tygodniami otrzymały ustną obietnicę od naczelnika policyi, hr. Pikiel, że żądania ich zostaną uwzględnione a prawne zatwierdzenie uzyskają t. zw. „Polizeimatrone“: kobiety opiekunki dla czuwania nad upadłemi dziewczętami. Na kongresie pomimo sporu za rządu związku sprawa prostytucyi stanowiła drugi punkt dziennego porządku.

Warto tu dodać jeszcze dla dopełnienia obrazu dążności kobiet niemieckich, że obok tych dwóch spraw, poruszonych na zjeździe silniejszą staje się wśród nich agitacya przeciw alkoholowi. Zwołują zebrania, wywołują dyskusye, proszą o referaty specyalistów i *specyalistki* (kilkakrotnie przemawiała w sprawie alkoholu dr. med. Agnieszka Blubm) i rozpowszechnić się starają ruch, tak szerokiem płynący już korytem w Ameryce, Anglii i Skandynawii,

---

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M W.**

(Ciąg dalszy.)

Stary gospodarz podzielał również zdanie, że jechać nie należało, alež starał się już pierwej odciągnąć gości od tego zamiaru, oni jednak słów jego nie usłuchali.

— Bardzo być może zresztą, żem stał się na starość tchórzem — myślał — oni zaś dojadą szczęśliwie. I nam będzie z tem lepiej, bo o zwykłym czasie udać się na spoczynek będziemy mogli, bez żadnych kłopotów.

Pietrek także widział, że jechać niebezpiecznie i strach go ogarniał, ale nie byłby tego pokazał po sobie za nic w świecie, grał więc rolę zucha, udając, że zgoła się nie obawia, a wierszyki o tem, jak „burza mgłami niebo kryje, tumanami śniegu miecie“, dodawały mu otuchy tem, że tak wierny przedstawiały obraz tego, co się na dworze działo.

Co się tyczy Nikity, to ten wcale a wcale jechać sobie nie życzył, ale przywykł od dawna nie mieć swojej woli i słuchać innych. Słowem nikt nie zatrzymał odjeżdżających.

V.

Brechunow, zaledwie mogąc rozróżnić sanie w ciemności, zbliżył się do nich, wsiadł i ujął lejce.

— Ruszaj bracie naprzód! — zawołał — i Pietrek, klęczący w szerokich, nieokutych saniach, popuścił cugle swej klaczy. Gniadosz, który rżał do niej od dawna, szarpnął się teraz w ślad za nią i obie pary sani pomknęły na ulicę.

Jechaliż znowu poraz czwarty temiż opłotkami koło podwórza z rozwieszoną, a w ciemności nie dającą się dojrzeć bielizną; około stodoły, teraz już zawianej prawie pod sam dach, z którego śnieg wciąż sypał się i sypał bez końca; koło ponuro jęczących, świszczących i gnących się wierzb — i znowu wysunęli się na białe, z dołu i góry kłąbiące się tumanami śniegu morze. Wiatr szalał z taką wściekłością, że gdy dął w jadących z boku, niby w żagiel, wówczas sanki przechylał i konia spychał na bok. Pietrek jechał naprzód tęgim kłusem, raźnie pokrzykując, gniadosz pędził za klaczą.

Po dziesięciu minutach takiej jazdy, Pietrek zwrócił się wstecz i coś głośno do towarzyszy zawołał. Ani Brechunow, ani Nikita nie dosłyszeli słów, które wiatr w przeciwnym uniósł kierunku, ale się domyślili, że to być musi zakręt. Jakoż Pietrek zawracał w samej rzeczy konia, a na prawo zamajaczało coś czarnego. Był to właśnie krzak, oznaczający początek bocznej drogi.

— Zostańcie z Bogiem!

— Bóg zapłać, Pietrek!

— Burza mgłami niebo kryje, tumanami śniegu miecie — zawołał Pietrek i sam zniknął w białym tumanie.

— Widzisz go, jaki poeta — zażartował Brechunow i ruszył z miejsca.

— A jakże — potwierdził Nikita — dzielny z niego chłop i prawdziwy zuch.

Jechali dalej. Nikita otulił się jak mógł, głowę wetknął w ramiona i siedział milczący, starając się nie stracić ciepła, które się w nim rozwinęło podczas picia herbaty. Przed oczyma jego migały proste linie hołobli, co mu sprawiało takie złudzenie, jak gdyby jechali wybornie utartą drogą, widział dalej poruszające się tył konia z podwiązanym ogonem, a jeszcze dalej wysoką duhę i szyję końską z rozwianą grzywą i chwiejącą się wahadłowo głową. Od czasu do czasu wpadały mu w oko przydrożne wiechy, po których poznawał, że jadą tymczasem dobrze, i że on nic tu nie ma jeszcze do roboty.

Brechunow powoził, popuszczając cugle rozumnemu koniowi. Ale gniadosz pomimo wypoczynku we wsi biegł niechętnie i parę razy

Istnieje też komisya, pracująca nad prawami kobiety i dzieci nieślubnych w nowym kodeksie cywilnym.

* * *

Zanim powołane pióro obszerniejsze da o wystawie sztuki sprawozdanie, zaznaczymy, że przedstawia się ona bardzo pokaźnie. Olbrzymie szeregi sal wobec otwartego jednocześnie paryzkiego salonu stanowią dowód, że artystyczna produkcya współczesna nie upada, pod względem ilości przynajmniej. Co do rodzajów malarstwa to występują one chyba wszystkie, a na tem barwnem tle jasno rysują się nowe kierunki, których samo wyliczenie jest już długim szeregiem, a ocena do specyalisty należy. Great attraction tegorocznej wystawy jest udział francuzów, którzy bardzo licznie dzieła swe nadesłali. Wśród nich pojawiły się też liczne nazwiska amerykanów, przebywających w Paryżu i hołdujących francuzkim wzorom.

Oddzielna niewielka sala poświęcona jest polskim mistrzom. Wyodrębnienie to zawdzięczamy prawdopodobnie Julianowi Fałatowi, który wystawę urządzał. Dużo tu płócien znanych już z Warszawy i Krakowa i tem sympatyczniejsze na Polakach czyniących wrażenie. Wystawiono dzieła: Augustynowicza, Badowskiego, Biernackiej, Boznańskiej Olgi, cały szereg studyów Fałata, prace Hirszenberga z Łodzi, Kochanowskiego, Kowalskiego, Wierusza, Makarewicza, Mańkowskiego, Chełmońskiego, Pilichowskiego, cudowną śmiere Ellenai i Anioła śmierci w Syberyi Pruszkowskiego. Jest i grecki obrazek Siemiradzkiego i cały prawie cykl Stachiewicza legend o Matce Boskiej, obrazki Stankiewicza, Stanisławskiego, Suchodolskiego, Styczyńskiego i wreszcie prześliczny krajobraz litewski Wywiórskiego, przed którym najwięcej zatrzymują się cudzoziemcy.

Gdy mowa o sztuce, niepodobna pominąć wydawnictwa, które przed 2 tygodniami zwróciło na siebie uwagę całego artystycznego świata w Berlinie. Jest to dwumiesięcznik „Pan“, wydawany pod redakcyą Ottona Bierbauma, organ towarzystwa artystów pod wezwaniem greckiego bożka. Zarówno pod względem treści, która ujawnić się stara nowoczesne kierunki literatury pięknej, a zaczyna od niedrukowanego ustępu z Fryderyka Nietzschego, jak części artystycznej, wszystko tu jest wytworne, piękne, arystokratyczne. Znać, że arystokracya ducha i artystycznego gustu stworzyć pragnie małe arcydzieła, które by w niczem jej nie raziły, a dla sztuki nową stały się pobudką. W dziale sztuki spotykamy między innemi Böcklina, Liebermana i Whistlera. *S. Z. D.*

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Wiedeń, d. 15 maja 1895.

(Większość antysemitów w Radzie miejskiej. — Rezygnacya burmistrza. — Żywiec i żydzi. — Stowarzyszenie polskie. — Projekt założenia Kółka literacko-artystycznego.)

Nareszcie nadeszła dla wiedeńskiej Rady miejskiej godzina obrachunku. Przez spory kawał czasu rządzili Radą sami żydzi, czyli tak zwani przez siebie liberalni. Radca i poseł do parlamentu Lueger urządził formalną krucyatę przeciw istniejącej „korrupcyi“, i po dziesięciu latach niezmordowanej agitacyi, doprowadził do celu, — to znaczy, że większość pozyskała jego partya antysemicka. Dzisiaj wybrany został vice-burmistrzem! W parę godzin potem, obecny burmistrz Dr. Grüebl, powołał do siebie prezydyum oraz dyrekcyę magistratu i oddał w ich ręce swój urząd z nadmienieniem, że zmuszony do tego jest siłą okoliczności, które w tak smutny sposób się złożyły. Do rządu przychodzą więc antysemici, a burmistrzem zostanie zapewne Lueger. Liberalni radzcy w liczbie 34 chcą w takim razie wystąpić zupełnie z rady, co powoduje nowe wybory. Bardzo ciekawe będą te rządy, — gdyż okazuje się, że obecna opozycya, będąc w większości i przy rządzie, stwarza z ustępujących nową opozycyę, czyli, że to, co dla tych było dobre, dla tamtych będzie teraz złe i na odwrot. W każdym razie charakterystycznem jest, że antysemityzm kolosalnie się rozwija, ale równocześnie budzi nienawiść rasową chrześcian do żydów, — Niemców do Czechów i słowian w ogólności. Antagonizm ten przeniesie się niebawem i do parlamentu.

Czy znacie miasto w Galicyi, gdzie niema *ani jednego żyda?* Zywiec, po niemiecku „Saybusch“, w Tatrach, należy do takich wyjątków. Przed tygodniem wprowadził się do tego miasta Dr. Leser, kandydat adwokacki, chcąc przekonać Europę, że mu się uda stawić czoło wiekowemu zwyczajowi Zywczan, aby każdego żyda siłą z miasta wyświecać. Zaraz z rana, po nocnem przesiedleniu się, został z mieszkania wygoniony, a meble jego wywiezione aż za granice miasta na Zabłocie, gdzie żydom dozwolono zamieszkiwać. Naturalnie poturbowano mu te meble i pobito szyby gospodarzowi, który śmiał zdradzić stary zwyczaj, a stało się to wszystko tak szybko i spokojnie, że zawołani do pomocy żandarmi nie znaleźli na placu nic podejrzanego. Aresztowano wprawdzie kilku wyrostków za zbijanie szyb — ale i tych nazajutrz wypuszczono. Dr. Leser, który w Krakowie udawał socyalistę, przyjechał do Wiednia, a żydzi robią awantury i zmuszają posłów do wniesienia w parlamencie z tego powodu interpelacyi. Kronawetter i Pernerstorfer, posłowie od wszelkich reklam dla siebie, zbierają podpisy potrzebne w liczbie 50 — posłowie żydzi, odmówili swoich.

Stowarzyszenie polskie „Ognisko“ urządziło w rocznicę Kościuszki wieczorek w swoim lokalu przy Landongasse. Dziwić się wypada nieporadności młodych ludzi, a nawet pewnego rodzaju brakowi pietyzmu, że ogłaszając szumnie „koncert czy wieczorek Kościuszkowski“ — urządzają go w dwóch małych dziurach, gdzie młodzież bilard zasiada, robi niesmaczne koncepta i hałasuje podczas produkcyi. — „Ognisko“ zdaje się straciło już zupełnie pamięć dawnej tradycyi swojej, a wydział wraz z prezesem nie jest w stanie i nie potrafi rządzić stowarzyszeniem, gdzie żywiołem inteligentnym ma być młodzież akademicka. To samo powiedzieć można i o drugiem stowarzyszeniu „Strzecha“, które za protektora ma posła hr. Łosia, a za prezesa do najwyższego stopnia niesympatycznego Hofratha Twardowskiego. Trzecie stowarzyszenie „Biblioteka Polska“, mająca za zadanie kształcenie dzieci polskich w Wiedniu i utrzymywanie ducha polskości z pomocą książek i odczytów, idzie w parze z obydwoma już wymienionemi. Prezes Nowiński, najlepszych chęci zapewne człowiek, ale bez najmniejszej inicyatywy kierownik, zraził swojem postępowaniem niejednego z członków, którzy chcieli pracować i bibliotekę postawić na czele ruchu umysłowego. To też towarzystwa te prosperują tylko wzajemną admiracyą kilku starych pań i panów, — ogół trzyma się od nich z daleka.

Słyszałem, że kilku młodych literatów i artystów czując brak spójni umysłowej, ma założyć w krótkim już czasie „Kółko artystyczno-literackie“, do którego jednak tylko przez balotowanie wstęp będzie dozwolonym. Kółko to, ma stworzyć rodzaj „sekty“ dla najnowszych prądów literatury i sztuki, głosić odczyty i rozprawy i zapoznawać się wzajemnie z czynnym ruchem światowego w tym kierunku postępu. Dwóch posłów do rady państwa zakłada w Wiedniu tygodnik w powyższym duchu. Być może, że jeszcze przed czerwcem wyjdzie pierwszy numer. *Xi.*

Zamieszczając korespondencyą poniższą, zwracamy uwagę na końcowe komentarze redakcyi, odnoszące się w pewnej części również do pierwszego artykułu tego samego pióra, ogłoszonego w Nr. 17.

Wiadomości szląskie.

II.

Wypowiedzenie całej prawdy miewa zwykle

---

jakby zbaczał z drogi, aż trzeba było nim kierować.

— Tu z prawej strony jedna wiecha, tam druga, dalej trzecia — rachował Brechunow — a przed nami już i las — dodał wpatrując się w czarniejący na białem tle jakiś punkt. Ale to, co brał za las, było sobie poprostu krzakiem. Minęli go, odsunęli się dalej na jakie dwadzieścia sążni*), ale już ani czwartej wiechy, ani lasu nie było widać.

— Las powinienby tu być zaraz — powtarzał w duchu Brechunow i podniecony wódką i herbatą raz w raz uderzał gniadosza, a łagodne, dobre stworzenie biegło posłusznie to truchtem, to drobnym kłusem dokąd mu kazano, chociaż wiedział, że każą mu biedz wcale nie tam, gdzie należało. Upłynęło ponownych dziesięć minut, a lasu nie było ani śladu.

— Ha, zbłądziliśmy po raz trzeci! — zawołał Brechunow zatrzymując konia.

Nikita wyskoczył, milczący z sanek i przytrzymując ubranie, które wiatr już to przyklejał mu do ciała, już podnosił w górę i zrywał z plec, — poszedł brodzić znowu po śniegu. Skierował się wpierw w jedną, potem w drugą stronę, znikał kilkakrotnie w wirujących tumanach, nakoniec wrócił i wziął lejce z rąk Brechunowa.

*) Sążeń — miara dłuższa, cokolwiek od 5 metrów. (Przyp. tłum.)

— W prawo jechać należy — oświadczył surowym i stanowczym głosem, zwracając konia.

— Niech będzie i w prawo, — zgodził się Brechunow, oddając lejce i zasuwając zziębnięte ręce w rękawy. — Gdybyśmy choć do Gryczkina z powrotem trafić mogli.

Nikita nic na to nie odpowiedział.

— Wio, gniadoszu, wio! nie żałuj nóg! — wołał na niego, lecz ten pomimo uderzeń lejcami szedł stępa po głębokim, miejscami do kolan sięgającym śniegu. Nikita wydostał bat i zaciął gniadosza. Gorący, młody koń, nieprzyzwyczajony do bata, szarpnął się i pomknął kłusem, ale natychmiast zwolnił biegu, przechodząc w trucht, a potem w stępa. Jechali znowu koło pięciu minut. Było tak ciemno i tak miotło śnieg z dołu i góry, że chwilami nawet duha znikała z przed oczu, to znowu zdawało się jadącym, że sanie ich stoją nieruchome, a pole ucieka przed nimi. Nagle koń stanął jak wryty, przeczuwając widocznie coś niedobrego przed sobą. Nikita znowu wyskoczył lekko z sanek i rzucając lejce wysunął się przed konia dla zbadania czemu nie chce iść dalej. Ale zaledwie postąpił parę kroków, pośliznął się niespodzianie i stoczył po jakiejś pochyłości.

— Stój, stój! — wołał sam na siebie, padając i starając się zatrzymać, ale stanął wówczas dopiero, gdy nogi jego wbiły się w głębszą warstwę śniegu, która wyścielała dno wąwozu. Zaspa śniegu wprawiona w ruch upadkiem Nikity zsunęła się za nim, zasypując go i dostając mu się za kołnierz.

— A więc ty tak! — mówił z wyrzutem Nikita, zwracając się do zaspy i wąwozu i wytrząsając śnieg z za kołnierza.

— Nikita, hej, Nikita! — wołał Brechunow z góry, ale Nikita nic mu nie odpowiadał.

Czasu nie miał: wpierw otrząsał się ze śniegu, potem szukał bata, który wymknął mu się z ręki w chwili upadku. Znalazłszy bat, chciał się wydostać tą drogą, po której się stoczył, ale brzeg był zbyt spadzisty i po daremnych usiłowaniach ześliznął się powtórnie, poszedł więc dalej dołem, szukając dogodniejszego wyjścia. O jakie trzy sążnie dopiero od miejsca, gdzie się stoczył, udało mu się z wysiłkiem wygramolić na czworakach, poczem poszedł brzegiem wąwozu, zmierzając do miejsca, gdzie, jak mu się zdawało, koń powinienby się znajdować. Ani konia, ani sanek dojrzeć nie mógł, że jednak szedł naprzeciw wiatru, dosłyszał — wpierw nim je zobaczył — wołania Brechunowa i rżenie gniadosza, które go przyzywały.

— Idę, idę, czego chcesz — zwrócił się do konia.

Dotarłszy dopiero do sanek, zobaczył gnia-

dobre skutki. Może i u nas na coś się przyda. Chodzi najprzód o wydawnictwo kuryerowe, o którem Szan. Redakcya innego odemnie chce być zdama. „Kuryer górnoszląski“ jest to arcyciekawe i w dziejach naszego rozwoju narodowego ze wszech miar uwagi godne zjawisko. I chociaż „Gazeta Opolska“ po ukazaniu się pierwszych numerów tego pisma niejako z politowaniem mówiła o słabem, zarodki suchót w sobie noszącem dziecku i skrzętnie wyliczała zachodzące tam błędy drukarskie, to czytelnicy, a mianowicie ludzie znający sytuacyą więcej mieli obawy o tego trzechletniego chłopca Opolskiego, który jeszcze ani biegać, ani mówić nie umiał, aniżeli o nowonarodzonego suchotnika. Sytuacya bowiem była taka, iż potrzeba podobnego pisma ogólnie była odczuwaną. Od dosyć dawna życzono sobie nawet w kołach, które nasi prowodyrowie do swoich zaliczają pisma, któreby nie karmiło swoich czytelników tylko anonsami i wiadomościami o towarzystwach, ale poświęcało się rzetelnie domowym sprawom, przedewszystkiem socyalnym i ekonomicznym. Bo mówiono zupełnie słusznie, iż życie narodowe może się dopiero na silnej podstawie materyalnej zdrowo i pomyślnie rozwinąć.

W tym kierunku jednak szlązacy sami najskuteczniej mogą pracować. Wobec takiego usposobienia inteligencyi szląskiej byłby „Kuryer“ został z radością powitany i mając wszystkie lepsze siły za sobą, byłby mógł sobie wyrobić stanowisko poważne i stać się organem ton nadawającym, lecz niestety powstał w bardzo niefortunnym czasie walki wyborczej i pod bardzo niekorzystną marką. Do szeregów swoich przyjął gorliwych germanizatorów i odtrącił od siebie większą część patryotycznie usposobionej inteligencyi i chybił w ten sposób zupełnie celu, bo nie połączył inteligencyi szląskiej do wspólnej pracy, ale ją rozdzielił. Wśród takich dla siebie niekorzystnych okoliczności powstał „Kuryer“, i stare pisma nasze mogłyby mu zupełnie odebrać grunt pod nogami, gdyby były zrozumiały ideę, którą „Kuryer“ może się stać dla nich niebezpiecznym, i wyciągnęły dla siebie tę naukę, iż trzeba pracować w więcej pozytywnym kierunku nad podniesieniem materyalnem ludu, nie spuszczając z oka także poważniejszych kwestyi narodowych. Tymczasem cóż się dzieje? „Kuryer“ zaczyna pojmować swe zadanie i wchodząc na drogę właściwą zjednywa sobie coraz więcej zwolenników, zaś stare nasze gazety pracują na jego korzyść, otwierając łamy swoje zbyt szeroko skargom i żalom owych już przeszłą razą scharakteryzowanych patryotów, którzy zamiast zarabiać szydłem, igłą lub łokciem na chleb powszedni i pomnażać w ten sposób majątek narodowy, radziby zakładali narodowe instytucye, jak bank polski, organizowali towarzystwa, zwoływali wiece itd. sądząc w świętej prostocie, iż oni to popychają sprawę narodową naprzód, nawet wbrew woli kleru. U Polaków częściej spotyka się taki fałszywy i wielce szkodliwy patryotyzm. My musimy na Szląsku szerzeniu jego zapobiegać i takim „wielkim ludziom do małych interesów“ wskazać drogę ich działalności, bo inaczej tego dożyjemy, iż skoro będą myśleli, że sprawę narodową popchnęli dosyć naprzód, nabiorą pretensyi zostania posłami. No, i wtenczas Polska uratowana! Co by to było za szczęście dla Szląska, gdyby polscy posłowie w Raciborskiem byli zwyciężyli, gdyby p. R. podobnie jak P. Segiet w Berlinie był zaczął wielkie mowy odczytywać, a w końcu dodał, że jest pierwszym reprezentantem nowej partyi polsko-ludowej. To zapewnie sprawa nasza narodowa zyskałaby na reputacyi, pytanie tylko u kogo! Nie godzi się spraw poważnych tak lekkomyślnie traktować. Popierać kandydaturę Szmuli było obowiązkiem uczciwych i sprawiedliwych ludzi; wybierać Strzodę zamiast Letocha było bardzo zrozumiałą rzeczą, ale nie mieć odpowiednich kandydatów a chcieć polskich posłów, jak w Raciborskiem, to jest zgorszeniem publicznem. Jak wielką zaś szkodę takie publiczne zgorszenie społeczeństwu przynieść może, odczuwamy u nas dotkliwie już z tego jednego wypadku.

Społeczeństwo rozbite, siła inteligencyi rozdzielona. Czyż nie lepiej byłoby pracować najprzód nad wyrobieniem odpowiednich na polskich posłów osobistości, aniżeli stawiać komiczne figury na kandydatów, które w razie zwycięztwa sprawę narodową chyba ośmieszyć są zdolne. Na tej drodze bawienia się w wielką, hałaśliwą politykę najmniej się możemy przysłużyć sprawie narodowej, która się wolno i systematycznie rozwijać musi.

X. Jacek Kamieński.

* * *

Uwagi redakcyi.

Zamieszczając powyższą korespondencyę, zwracamy Szan. autorowi przedewszystkiem uwagę na to, że, z wyjątkiem sprawy wyborczej w Raciborskim powiecie, wyraża się trochę niejasno i niewyraźnie, że pobieżnie szkicuje jakieś towarzystwa i koła ludzi niedorosłych zadaniu narodowej pracy, a ani ich nie mianuje, ani nawet nie charakteryzuje tak, iżby Czytelnicy korespondencyi własne zdanie o nich i o całem dzisiejszem położeniu na Szląsku wyrobić sobie mogli.

Szan. Korespondent stara się jak najwidoczniej zaznaczyć pewne przeciwieństwo pomiędzy rodzimą inteligencyą szląską, — a pewnemi [illegible]wowemi kołami pseudo-inteligencyi polskiej „od igły, szydła i łokcia“, zdaniem jego bardziej szkodliwej dla sprawy szląskiej, aniżeli pożytecznej. Wypowiedział to Szan. Korespondent tak ogólnikowo, że dla wyjaśnienia prosimy o bliższe określenie nam zarówno tej inteligencyi rodzimej jak i pseudo-inteligencyi napływowej. O ile nam wiadomo, a powtarzamy raz jeszcze, że znamy stosunki szląskie bardzo dobrze, to właśnie inteligencya szląska z nielicznemi a odosobnionemi wyjątkami, wcale prawie jeszcze w toczącej się obecnie walce narodowościowej znaku życia nie dała, a z drugiej strony znowu nie mamy pojęcia o owych kołach ludzi od „igły, szydła i łokcia“, którzyby niedojrzałym swym rozumem pragnęli zbawić polskość na Szląsku, a co gorsza, upiec pieczeń własnej chwały przy ogniu niedoli szląskiego ludu. Polska po za Szląskiem tak mało bowiem dostarcza Szląskowi właśnie ludzi od igły, szydła lub łokcia, że absolutnie dopatrzeć się nie możemy, gdzieby sie już podobne silniejsze liczbą i znaczeniem koła tego rodzaju ludzi skupić i większy wpływ na sprawy publiczne uzyskać miały?

Szan. Korespondent zdaje się być niezadowolonym z kierunku i pracy trzech pierwszorzędnych pism szląskich, „Katolika“, „Gazety Opolskiej“ i „Nowin“, i zarzuca im pod kwiatkiem, że albo zanadto dbają o własny interes, albo też bawią się w politykę zbyt hałaśliwą, i że przez to *odstręczają* rodzimą inteligencyę Szląska i pchają ją w objęcia „Kuryera Górnoszląkiego“. I tego zdania podzielać wcale a wcale nie możemy. Jeżeli inteligencya, wyrosła z pośród ludu polskiego na Szlązku, nie zdobyła sobie dotychczas należącego jej się w sprawach politycznych stanowiska wybitniejszego, jeżeli lud i dziś jeszcze bardziej jakoś ufa napływowym kołom Wielkopolan od „szydła, igły i łokcia“, aniżeli inteligencyi rodzimej, to własna to jej wina. Nam się zdaje, że właśnie rodzima inteligencya Szląska za mało wyraźnie dotychczas zamanifestowała *polskość swoją*, za mało w ogóle bierze udziału w sprawach publicznych, iżby lud z nią się mógł liczyć lub jej przywództwo swej sprawy powierzyć. Inteligencya rodzima polskiego Szląska jest w ogóle, że się tak wyrazimy, za mało produktywną i nawet w własnych kołach, wśród żywiołów pod względem narodowym nieprzekonanych lub obałamuconych za mało działa, za mało zresztą w ogóle daje gwarancyi, że sama wytrwa do końca przy sztandarze narodowym. Więc też i pisma polskie na Górnym Szląsku dziś przedewszystkiem na *ludzie* opierać się muszą i nie mogą dla pozyskania tej lub owej *jednostki* z inteligencyi, zmieniać kierunku swego, wytkniętego najwyraźniej względami na dobro sprawy polskiej. [illegible]opolska z chęcią też wszelkiemi siłami popierać będzie inteligencyą rodzimą na Szląsku, — ale nie widząc jej, — naturalnie czynić tego nie może. A to zapewne raczy Szan. Korespondent przyznać, że inteligencya polska na Szląsku dotychczas ani słowem ani czynem nie zamanifestowała

---

dosza i stojącego obok Brechunowa, który wydawał się olbrzymim.

— I gdzieżeś to u djabla zaprzepaścił się? Zawracać trzeba, abyśmy na noc choć do Gryczkina przynajmniej wrócić mogli — napadł gniewnie na Nikitę gospodarz.

— Ha, radbym i ja wrócił, ale którędyż jechać? Taki wąwóz przed nami, że jakbyśmy tam wpadli, to i wydostać się byłoby niepodobieństwem.

— Więc cóż, mamy tak stać bez końca? W którąbądź stronę, a jechać trzeba.

Nikita ujął posłusznie lejce i popędził konia wzdłuż wąwozu. Nie ujechali jednak i stu kroków, gdy koń znowu stanął: przed nim była inna jakaś spadzistość.

I znowu Nikita chodził długo we wszystkich kierunkach, zapadając w śnieg, podnosząc się i powtórnie padając. Wrócił nakoniec, ujął konia za cugle i skierował w zaspę śniegu. Gniadosz opierał się z początku, a potem szarpnął, chcąc zaspę przesadzić, ale sił mu zabrakło i pogrążył się w śnieg po szyję.

— Wysiadaj! — zawołał Nikita na gospodarza i uchwyciwszy hołoblę, ciągnął sanie w kierunku konia. Gniadosz, zachęcony jego głosem, szarpnął się raz i drugi, ale nadaremnie i znowu zapadł głębiej. Teraz strzygł uszami i wąchał śnieg, jakby się nad czemś namyślając.

— Wio! dalej, naprzód! — wołali jednocześnie Nikita i Brechunow, ciągnąc za obie hołoble. Koń poruszył wpierw głowę, a potem szarpnął się gwałtownie raz, drugi, trzeci, wynurzył ze śniegu i stanął, ciężko sapiąc i otrząsając się. Nikita wziął go za cugle, sprowadził o dziesięć kroków w dół i zatrzymał w miejscu, zasłoniętem nieco od wiatru niewielką wypukłością ziemi. Tu, zdjąwszy rękawice, pochuchał przez chwilę w palce i zaczął odwiązywać rzemienie.

— Co robisz? — zawołał Brechunow.

— A cóż mam robić? Wyprzęgam. Siły już nijakiej nie mam w ciele — mówił Nikita, jakby się usprawiedliwiając.

— A nie moglibyśmy dotrzeć do jakiej siedziby ludzkiej?

— Nigdzie już nie dojedziemy, a tylko konia zajeździmy. Wszak on i teraz już sam do siebie niepodobny — odparł Nikita, wskazując ręką na stojącego pokornie, na wszystko gotowego i ciężko robiącego mokremi bokami gniadosza. — Tutaj nocować trzeba.

— A nie grozi nam zmarznięcie? — pytał Brechunow.

— Ha, cóż robić? Może i zmarzniemy. I takie wypadki chodzą pomiędzy ludźmi — odparł Nikita.

VI.

Ubranemu w dwa futra gospodarzowi ciepło było zupełnie, zwłaszcza teraz po gwałtownem szamotaniu się w zaspie śniegu, lecz dreszcz przebiegł mu po plecach na myśl, że wypadnie całą noc spędzić w polu. Chcąc się uspokoić, wsiadł do sanek i począł wydostawać z kieszeni papierosy i zapałki.

Nikita wyprzęgał tymczasem konia.

— Wychodź, wychodź — mówił, wyprowadzając gniadosza z pomiędzy hołobli. — Przywiążę cię oto tak. Słomy podłożę, wędzidło wyjmę — tłumaczył, wcielając jednocześnie słowa w czyn. Zakąsisz sobie i zaraz będzie ci weselej.

Ale słowa Nikity nie uspakajały widocznie gniadosza, który wciąż okazywał trwogę, przestępując z nogi na nogę, przyciskając się do sani, obracając tyłem do wiatru, trąc łeb o rękaw Nikity.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

potrzeby takiego poparcia, że w ogóle wcale a wcale nie stara się choćby tylko o zawiązanie jakichkolwiek stosunków z inteligencyą wielkopolską.

A już najbardziej błądzi inteligencya polska na Szląsku, — przynajmniej ta jej cząstka, którą Szan. Korespondent bierze w obronę, — jeśli spodziewa się zbawienia idei polskiej ze strony „Kuryera Górnoszląskiego“. Co do tego, to już łudzić się nie powinna. Szan. Korespondent sam przyznaje, że między założycielami „Kuryera“ byli zdeklarowani germanizatorzy. To chyba najwymowniej charakteryzuje posłannictwo jego. A przecież „Kuryer Górnoszląski“ po dziś dzień się nie zmienił, — chyba może stał się zręczniejszym w ukrywaniu właściwych swych celów, — po dziś dzień znajduje się w rękach tych samych osób, które stały nad kolebką jego, pod tą samą nominalną wychodzi redakcyą, która nie tak dawno temu dała w łamach jego przytułek pismu pewnego kapłana, żalącego się na polskich redaktorów z Poznańskiego, iż *oni to wnieśli na Szląsk górny ideę narodową!* „Kuryer Górnoszląski“ jest w gruncie rzeczy i dziś jeszcze takim, jakim był, a nawet ze względu na tych, którzy go utrzymują *nie może być innym*, więc dziwić się tylko trzeba, że tak Szan. Korespondent jak i inteligencya polska na Szląsku jeszcze czegoś dobrego dla sprawy ze strony tego pisma się spodziewają.

Żałujemy bardzo, że wobec tak ogólnikowego omówienia kwestyi przez Szan. korespondenta i my dziś na ogólnikowej odpowiedzi ograniczyć się musimy. Ale powrócimy jeszcze do przedmiotu tego, spodziewając się, że Szan. Korespondent nie omieszka przemówić wyraźniej.

Jedynym faktem, na który wskazał Szan. Korespondent, — są wybory w Raciborskiem. Przywódzców tamtejszego ruchu polskiego spotyka z jego strony zarzut, że zbyt lekkomyślnie wysunęli przy ostatnich wyborach na kandydatów ludzi zupełnie nieodpowiednich, i że przez to, zdaniem jego, — wywołali skandal polityczny i sprawie zaszkodzili, bo ją *ośmieszyli*. Co do tego, to już zupełnie innego jesteśmy zdania. Kandydaci raciborscy nie byli Wielkopolanami, ale rodowitymi Szlązakami, mężami, którzy tak samo dobrze, jeżeli nie lepiej, spełniać mogli obowiązki poselskie, jak spełniają je pan Strzoda lub pan Klose, — obaj włościanie bez wyższego wykształcenia, a w każdym razie lepiej, niż pan Hoffmann z centrum, który niedawno temu, jakkolwiek Niemiec rodowity, nie umiejąc nawet odczytać swej mowy, wywołał huczną wesołość w sali parlamentu, — lub jak wspomniany przez Szan. Korespondenta pan Segeth z Raciborza. Jeźli centrum nie waha się przyjąć do swego grona ludzi, jak pp. Strzodę i Hoffmanna, a stronnictwo wolnokonserwatywne takich, jak pan Segeth, dla czegoż lud szląski w Raciborskiem nie miał postawić kandydatury panów Roboty, Siary i Gąsiora? A przecież np. między panem Strzodą a kandydatami raciborskimi ta wielka, a na korzyść ostatnich przemawiająca zachodzi różnica, że kandydaci raciborscy *stanęli od razu na gruncie polskim*, podczas gdy o panu Strzodzie i dziś jeszcze nie wiadomo, jakie są jego przekonania co do sprawy narodowego odrodzenia Szląska! Jeźli zaś kandydaci raciborscy nie odpowiadali wymarzonemu przez Szan. korespondenta ideałowi posła, to przecież tego zaprzeczyć nie zechce, że mogli się byli łatwo wyrobić, i niezawodnie byliby się wyrobili na posłów ludowi polskiemu wielce pożytecznych, jak się na dobrych posłów wyrobili pp. Metzner i Klose, z tych samych warstw społecznych pochodzący. Wiemy zresztą z najlepszego źródła, że przywódzcy polskiego ruchu w Raciborskiem starali się usilnie o kandydatów z wyższej inteligencyi polskiej na Szląsku, — ale inteligencya ta — przepraszamy za wyrażenie wtedy haniebnie stchórzyła, i nie znalazł się pośród niej ani jeden mąż, któryby odważył się ściągnąć na siebie skoncentrowany ogień przeciwników, jak to z godną uznania odwagą uczynili ludzie z ludu, — tak przez Szan. Korespondenta potępiani. Posiadali oni zatem jeden, w każdej walce politycznej tak niezbędny przymiot — o d w a g ę c y w i l n ą, tym przymiotem wynieśli się wysoko ponad zastęp rodzimej inteligencyi szląskiej, która właśnie n a t y m p u n k c i e c h r o m a n a j b a r d z i e j! Jakże więc można ten tak piękny objaw samodzielności i odwagi ludu, który nawet opuszczony przez własną inteligencyą nie stracił ducha, nazywać s k a n d a l e m p o l i t y c z n y m?

Wiemy z dobrego źródła, jak szczerą i wielką sympatyą okazywał dawniej Szan. Korespondent ruchowi raciborskiemu nawet w najkrytyczniejszych jego chwilach, gdy chodziło o osobę księcia Biskupa Wrocławskiego. Ruch ten w niczem się nie zmienił, z jakiejże tedy przyczyny Szan. Korespondent dziś inaczej się na ruch ten zapatruje?

Sprawa szląska jest dla całego społeczeństwa polskiego sprawą niezmiernej wagi, sprawą p i e k ą c ą. I my powrócimy jeszcze do niej w obszerniejszych artykułach, skoro Szan. Korespondent wyraźniej wypowie swe skargi. Dziś tylko wyrażamy żal nasz, że właśnie z tej ostatniej jego korespondencyi przebija się widocznie nieszczęsny duch p a r t y k u l a r y z m u s z l ą s k i e g o, tego największego wroga pomyślnego rozwoju idei polskiej na Szląsku.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Frekwencya wyższych szkół w Prusiech w latach 1872—1892.

Z szczególniejszem uwzględnieniem prowincyi przez ludność polską zamieszkanych.

Napisał
Romuald Łazęga.

W historyi rozwoju wyższych szkół w Prusiech ostatnich lat dwudziestu należy nam odróżniać trzy wybitne okresy:

1. okres ministra Falka i tworzące poniekąd przyczepkę do niego ministerstwo Puttkammera.
2. okres ministra Gosslera do r. 1892.
3. okres ministra Gosslera i jego następców po r. 1892.

W pierwszym okresie szkólnictwo wyższe żadnych zmian zasadniczych nie doznało. Dogmat o niezrównanej wartości gimnazyum klasycznego, jako szkoły normalnej dla młodzieży wyższych stanów, trwał w dawnej sile i główne zabiegi naczelnych władz szkólnych skierowane były ku pomnożeniu i ulepszeniu tego rodzaju zakładów.

Drugi okres przyniósł nam reformę szkólną z r. 1893. Reforma ta zmian radykalnych nie dokonała, ale przebija się w niej tendencya do zbliżenia dwóch głównych kategoryi wyższych zakładów naukowych tj. gimnazyum i szkoły realnej I-go rzędu, która odtąd otrzymuje nazwę gimnazyum realnego. Ważniejszym o wiele owocem tej reformy było jednakże uregulowanie stosunków szkół, mających na względzie przysposobienie młodzieży do zawodów praktycznych. Wyższe zakłady realne bez łaciny i tak zwane szkoły obywatelskie otrzymują stałe plany i ściśle określone prawa.

Reforma szkolnictwa wyższego w r. 1892 wyszła, jak rzecz wiadoma, z inicyatywy samego cesarza i zdawała się w stosunkach szkolnych zapowiadać przewrót radykalny. W rzeczywistości i ona prócz pewnych ulepszeń wewnętrznych zmian wielkich nie przyniosła. Natomiast na konferencyi berlińskiej zarysowała się bardzo wyraźnie niechęć przeciwko gimnazyum realnemu, które nietylko rozszerzenia praw nie uzyskało, ale o byt swój stoczyć musiało uporczywą walkę. Równocześnie uwydatniła się wielka przychylność ku wszelkim innym rodzajom szkół realnych, które też odtąd rość poczynają w liczbę i znaczenie.

Stosunki te odbijają się bardzo wyraźnie w frekwencyi szkół wyższych w tym czasie. Uczęszczało bowiem w przecięciu rocznem uczniów wogóle:

Tab. 1.)*

w latach:	do gimn. klas.	do gimn. realnych.	do innych zakł. realnych.	t. j. na 100 uczniów szkół wyższych było w gim. klas.	w gim. real.	w inn. zakł. realn.
1872-3—1875-6	67161	30970	15836	58,94	27,18	13,88
1876-7—1880-1	73401	27555	19011	61,20	22,97	15,83
1881-2—1885-6	82035	25390	22394	63,24	19,51	17,26
1886-7—1890-1	81252	24963	27412	60,80	18,69	20,51
1891-2—1892-3	79125	24817	32150	58,15	18,23	23,62

Z powyższej tabeli wykazuje się dowodnie, iż frekwencya gimnazyów klasycznych zwiększała się stale tylko do r. 1885. Od tego czasu poczęła ona znów upadać, a w czasach ostatnich relatywnie spadła nawet poniżej cyfry, jaką wykazują lata 1872-3—1875-6.

W gimnazyach realnych liczba uczniów i absolutnie i relatywnie zmniejszała się stale, natomiast równie stale zwiększała się we wszelkich innych wyższych zakładach realnych.

Pomiędzy uczniami było:

Tab. 2.

w latach:	ewangelików.	katolików.	żydów.	a zatem 1 uczeń przeciętnie na głów ludności u ewang.	katol.	żydów.
1872-3—1875-6	77627	21582	9758	210	391	34
1876-7—1880-1	86804	21610	11553	197	412	32
1881-3—1885-6	93476	23991	12662	192	393	30
1886-7—1890-1	95191	26829	12050	197	371	31
1891-2—1892-3	95607	28555	11930	201	359	31

Cyfry te mówią same przez się dość wyraźnie i dla tego wstrzymuję się od wszelkich uwag.

---

*) Powyższa tabela o tyle jest niedokładną, że nie obejmuje synów dysydentów. Ponieważ jednakże uczniów tego rodzaju przypadało mniejwięcej 2 na 1000, przeto niedokładność ta jest minimalną i nie zmienia bynajmniej obrazu rzeczy. Cyfry zestawione są podług frekwencyi w półroczach zimowych odnośnych lat. Do gimnazyów klasycznych zaliczeni są także uczniowie progimnazyów.

Podług poszczególnych kategoryi zakładów było:

Tab. 3.

w latach:	w gimnazyach klasycznych: ewangelików	katolików	żydów	w gimnazyach realnych: ewangelików	katolików	żydów	w innych szkołach realnych: ewangelików	katolików	żydów
1872-3—1875-6	44662	16448	6051	26660	2983	2327	12305	2151	1380
1876-7—1880-1	49985	15854	7562	21998	3190	2367	14821	2566	1624
1881-2—1885-6	56700	17159	8176	20240	2872	2188	16536	3960	1898
1886-7—1890-1	55130	19183	7383	19593	3049	2321	20469	4597	1683
1891-2—1892-3	51715	20471	6939	19374	3135	2308	24518	4949	2683

czyli 1 uczeń na głów przeciętnej ludności:

Tab. 4.

w latach:	w gimnazyach klasycznych: ewangelików	katolików	żydów	w gimnazyach realnych: ewangelików	katolików	żydów	w innych szkołach realnych: ewangelików	katolików	żydów
1872-3—1875-6	366	514	55	790	2892	143	1328	3927	241
1876-7—1880-1	843	562	46	779	2795	149	1156	3474	217
1881-2—1885-6	316	549	45	886	3278	167	1085	2377	192
1886-7—1890-1	340	518	50	956	3259	159	915	2162	157
1891-2—1892-3	372	501	54	993	3270	161	785	2071	139

U wszystkich wyznań widzimy zatem wzrastanie liczby uczniów i absolutnie i względnie w trzeciej kategoryi szkół t. j. w szkołach, które przysposobienie młodzieży do wyższych zawodów praktycznych mają za zadanie. Zdaje się zatem, iż tym właśnie szkołom wielka przyszłość jest przeznaczona, co zresztą odpowiadałoby intencyom rządu pruskiego, który pragnąc zapobiedz dalszemu wzrostowi uczonego proletaryatu, na te właśnie szkoły w czasach ostatnich szczególniejszą zwrócił baczność. W innych rodzajach szkół widzimy tylko stałe wzrastanie liczby katolików w gimnazyach klasycznych i niemniej stałe ubywanie liczby ewangelików w gimnazyach realnych.

Co się specyalnie tyczy prowincyi przez ludność polską zamieszkanych, to było w szkołach wyższych uczniów wogóle:

a) w Prusach Zachodnich:

Tab. 5.

w latach:	w gimnazyach klas.	w gimnazyach realn.	w innych zakład. realn.	czyli na 100 uczni było: w gimn. klas.	w gimn. realn.	w innych zakł. r.
1872-3—1875-6	—	—	--	—	—	—*)
1876-7—1880-1	4271	1447	683	66,72	22,60	10,68
1881-2—1885-6	4234	1199	594	70,25	19,89	9,86
1885-6—1890-1	4134	950	641	72,23	16,59	11,18
1891-2—1892-3	3943	800	1120	67,25	13,64	19,11

*) Prusy Zachodnie jako odrębna prowincya urządzone zostały dopiero 1877 roku.

b) w Poznańskiem:

Tab. 6.

w latach:	w gimnazyach klas.	w gimnazyach realn.	w innych zakł. realn.	czyli na 100 uczni było w gimn. klas.	w gimn. realn.	w innych z. real.
1872-3—1875-6	4597	1459	nie było.	75,90	24,10	nie było.
1876-7—1880-1	4464	1364		76,59	23,41	
1881-2—1885-6	4943	1191		80,58	19,42	
1886-7—1890-1	4900	1114		81,48	18,52	
1891-2—1892-3	4777	937		83,60	16,40	

c) na Szląsku:

Tab. 7.

w latach:	w gimnazyach klas.	w gimnazyach realn.	w innych zakł. realn.	czyli na 100 uczniów było w gimn. klas.	w gimn. realn.	w innych zakł. r.
1872-5—1875-6	10667	2952	579	76,87	21,28	1,85
1876-7—1880-1	11066	2634	1578	72,43	17,25	10,32
1881-2—1885-6	10943	1949	2189	72,54	12,92	14,54
1886-7—1890-1	10599	1787	2707	70,18	11,84	17,98
1891-2 — 1892-3	10022	1729	2821	68,61	11,86	19,53

Najwięcej do przeciętnego typu szkół wyższych w państwie pruskiem zbliżają się szkoły na Szląsku. I tu bowiem frekwencya zakładów, na przysposabianie do wyższych zawodów praktycznych obliczonych, zwiększa się stale kosztem gimnazyów klasycznych, a więcej jeszcze gimnazyów realnych, których frekwencya stale się zmniejsza.

Najsmutniej przedstawia się sprawa wyższego wykształcenia w Księstwie Poznańskiem. Tu bowiem zakładów dla stanu średniego przeznaczonych niema wcale. A że gimnazya realne, nie dające uprawnienia do zawodów wyższych i spełniające zadanie przysposobienia młodzieży do zawodów praktycznych w sposób nieodpowiedni, nie mogą przedstawiać zbyt wielkiej ponęty, przeto naturalnym sposobem, wbrew ogólnemu rozwojowi szkólnictwa w państwie pruskiem, rośnie stale frekwencya gimnazyów. To ukształtowanie rzeczy na polu szkólnictwa wyższego w Księstwie Poznańskiem odpowiada zresztą w zupełności stosunkom tej naszej prowincyi. Nie ma tu bowiem ani wysoko rozwiniętego przemysłu, ani ożywionego ruchu handlowego, a zatem i w stanie średnim nie objawia się ani pragnienie, ani potrzeba wyższej oświaty. Kto zaś z włościan i drobnych mieszczan oddaje syna do szkół wyższych, czyni to zazwyczaj w nadziei ujrzenia go kiedyś księdzem, do czego, jak rzecz wiadoma, jedynie gimnazyum klasyczne otwiera wrota.

Prusy zachodnie, jak wykazuje tabela 5, pod względem rozwoju szkólnictwa wyższego pomiędzy Szląskiem a Księstwem pośrednie zajmują miejsce. Są w nich zakłady do praktycznych zawodów przysposabiające, jeszcze młode, ale pomyślnie rozwijające się kosztem gimnazyów klasycznych i realnych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA WYŁOMIE.

(*Historyczny artykuł. — Kilka kujawiaków. — Wojna. — Elastyczność zasad. — Zdarzenie prawdziwe.*)

Zaczynam pytaniem: Wiecie, co to jest poważny artykuł poważnego czasopisma? Uśmiechacie się pogardliwie i spoglądacie na mnie z tak wojenną miną, jak gdybym profe-

sorskim tonem rzucił wam pytanie: Ile palcy u ręki i nogi posiada człowiek normalny?

Cierpliwości! najmilsi. Przekonam was natychmiast, że interpelacya moja nie zasługuje na miano zuchwalstwa, bo i wy może nie wiecie i ja nie wiedziałem. Wielką tę nowość zwiastował nam dopiero najpoważniejszy z poważnych organów „Dziennik Pozn.“

Przypominacie sobie niezawodnie proces „Gońca Wielkop.“ z „Wielkopolaninem“ i stronniczy referat z rozprawy sądowej, zamieszczony w „Dzienniku Poznańskim“. W końcowych wierszach sprawozdania tego zapowiadał organ *poważny* majestatycznie, że poświęci nazajutrz stosunkom dziennikarstwa naszego obszerny artykuł, a dnia następnego oświadczył, że *poważne* uwagi swoje odkłada dla braku miejsca do przyszłego numeru. Ciekawość była naprężona, zainteresowanie ogólne. Spodziewano się, że „Dziennik“ rozwinie obraz prasy poznańskiej, że wykaże przyczyny, wpływające na demoralizacyą stosunków naszych, i lubo przedstawi siebie samego z białemi skrzydłami anioła, to przecież odsłoni niejedno źródło choroby i wskaże skuteczną terapję. Wreszcie w dniu 10 maja o godz. 5 po obiedzie przynoszą mi wielką bibułę. Rozwijam i na drugiej stronnicy znajduję dwułamowy artykuł: „Uwagi z powodu polemiki dziennikarskiej“. Co to jest? Na wstępie etymologia. „Polemika“ pochodzi z greckiego „polemos“, — „polemos“ znaczy wojna, ztąd „polemarchos“. Następnie nieco historyi i historycznych anegdot: Skarga był dzielnym polemistą, listy Juniusa są wzorem polemiki. A w końcu — Boże! — chce mi się tańczyć kujawiaka, a tu jak na złość żałoba narodowa. „Dziennik poznański“ bowiem dla scharakteryzowania polemiki fałszywej wyśpiewuje pół łama kujawiaków i poezyi Rozbickiego:

„Bujałem ja coraz wyżej
Aż bujaczka pękła,
To ci, bracie, było śmiechu,
Jak Maryśka brzdękła“.

A dalej znów:

Coś na wodzie płynie w znak,
„Czy to ryba, czy to rak?“
Zapytał się kozy wieprz,
Koza mówi, że to pieprz.“

I tak dalej o musze i bocianie, o kawie i cukrze i koniec. To się nazywa poważny artykuł poważnego czasopisma w palącej sprawie domowej, a wobec tego nie weźmie mi chyba za złe kolega z Św. Marcina, że do zbioru jego redakcyjnych kujawiaków ośmielę się wspaniałomyślnie kilka zwrotek dorzucić:

Co to „Dziennik“? pytał Grzela
Z obliczem wesołem,
Rzekł mu na to gruby Maciek:
„Baba pod kościołem“.

Nie puściła flinta Kubie
Raz, drugi i trzeci,
Jak ci „Dziennik“ strzeli piórem,
Zaraz bąk wyleci.

Zapytał się baran owcy,
Czemu smutnie beczy?
Ona na to: Bo mi „Dziennik“
Nad uszami skrzeczy.

Na życzenie gotów jestem dostarczyć jeszcze całe legiony podobnych piosneczek, aby „organ poważny“ nie był w ambarasie, gdy zabierze się znowu do pisania „poważnych artykułów“. Tymczasem zaprezentuję czytelnikom moim inny kwiat o niezrównanej barwie i woni, wyrosły na zagonach poznańskiego dziennikarstwa. Prowadzę was znowu na ulicę Św. Marcina, tylko nieco dalej pod górę, wśród gruzów zrujnowanego bruku, uciekającego na łeb i szyję przed zwycięzkim asfaltem. Pył, hałas i głuchy łoskot młotów, a na chodnikach stają grupy ludzi i podziwiają arcydzieło Faraonów poznańskich. Wreszcie jesteśmy u celu. Przed nami redakcya „Kuryera“, z czeluści dolatuje huk bomb i grzechot karabinów. Orda „Kuryerowa“ wyruszyła w pole i z okrzykiem: „Śmierć Krzymińskiemu!“ wali na Kujawy.

Wojna! Poseł inowrocławski odważył się liście otwartym przedstawić wyborcom swoim credo polityczne i przed Koranem „Kuryera Poznańskiego“ nie uchylił czoła. „Niewierny“! wrzasli synowie proroka i wnet wielki wezyr szyki swoje sprawił. Nie będę opiewał dziejów świętej wojny, bo codzienna prasa ogłosiła już światu wielką epopeję, ale ku wiecznej pamięci zapisuję kilka ustępów tej walki, a raczej dyalog między „Kuryerem“ a Kołem polskiem.

Posłuchajcie:

„*Kuryer Pozn.*“: Do porządku wołamy pana Krzymińskiego, bo wara posłom odzywać się do wyborców swoich, wara tym mianowicie, którzy na posiedzeniach Koła nigdy nie bywają i o polityce wiedzą tyle, co wilk o astronomii.

Koło polskie: Wiadomość, że poseł Krzymiński nie uczęszcza na posiedzenia Koła jest z gruntu fałszywą.

„*Kuryer Pozn.*“: Prosimy o statystykę. Mamy do tego prawo, bo nawet uczniowi zapisują w cenzurze, ile godzin zmudził, a poseł Krzymiński stoi w oczach naszych na równi z szkolnym młokosem.

Kwintesencyą powyższego dyalogu określić nie trudno. „Kuryer Pozn.“ posądza niedwuznacznie „Koło polskie“, że w interesie posła-kolegi poświęciło prawdę i reprezentantowi narodu dyktuje taką kuratelę, która tylko w szkołach niższego rzędu jest praktykowaną, a na którą już student uniwersytetu spogląda z pogardą.

Gdyby do podobnych zarzutów i żądań posunęło się czasopismo jakie „z cechu warchołów“ nie kusiłbym się o krytykę tego *pro* i *contra*, ale jeżeli zważymy, że wojna rozegrała się w łamach organu, który kult powagi poselskiej uznał za pierwsze z politycznych przykazań i starał się wszystkiemi siłami ośmieszyć demokratyczny postulat odpowiedzialności posłów wobec społeczeństwa a każdą opozycyę piętnował mianem junakeryi, publicznego rozboju lub zdrady narodowej, — wtedy ujawni się tak drastycznie elastyczność wszystkich zasad Kuryerowych, że majestat „ładu i porzadku“ w proch się rozsypie. I któż wy jesteście, dla których etyczne formułki odgrywają rolę kapeluszy: Dziś cylinder, jutro dżokejka, a pojutrze wielkie rondo à la Rinaldini! Któż wy jesteście, apostołowie posłuszeństwa, zgody i czci autorytetów, — kapłani taktu i przyzwoitości, — heroldzi pietyzmu dla narodowych wybrańców? Wszystko jest szychem i dekoracyą przystosowaną do chwilowej potrzeby, a ręka błogosławiąca „powagom“ w pięść się skręca natychmiast, gdy bożyszcze według waszej nie rządzi komendy. Niegdyś w imię katolicyzmu wy sami zrywaliście solidarność narodową i rozłam przy urnie wyborczej stroiliście blaskiem bohaterstwa, dziś garść ludzi, nieginających karku pod jarzmo wasze, piętnujecie mianem rozbójników. I czciliście Koło polskie, dopóki wy a ono była jedna całość, ubóstwialiście autorytet poselski, dopóki waszemi stąpał manowcami, a kto na poklask zdobyć się nie umiał, był w oczach waszych „niszczycielem powag“, — dziś jednak, gdy reprezentacya polska w drobnostce tylko jest innego zdania, wy mianem „kłamcy“ stroicie bożyszcze a posła o barwie demokratycznej równacie z żakiem i rózgą mu grozicie. O! stróże narodowi! Wy urągacie Krzymińskim, że na posiedzeniach Koła polskiego świecą nieobecnością, a gdzież się podziała czujność wasza i poczucie obowiązku, gdy patron „Kuryera“ Dr. Komierowski ogłosił publicznie, że od 5 miesięcy nogą nie postał w Berlinie i o ustawie przewrotowej, — o której każdy szewc poznański dysputował, — on poseł narodu nawet prywatnie z nikim nie rozmawiał.

Zasady, etyka, obowiązek — wszystko frazes i pozłota, — wszystko tylko narzędzie do ujęcia ludu w karby lojalizmu i niewolniczego prusofilstwa. Naród wprawdzie od blekotu Kuryerowego z dnia na dzień więcej się odwraca, ale rząd pruski ceni go, pieści i szanuje. Nie wierzycie? Opowiem wam prawdziwe zdarzenie i na życzenie służę nazwiskami:

Pewien redaktor polski odsiadywał w najświeższym czasie karę więzienną za przestępstwo prasowe. Nudziło się w pustej celi skazańcowi, więc prosił prokuratora, by mu pisma polskie czytać pozwolił. Urzędnik wzruszył ramionami i rzekł:

„Ja, aber nur den „Kuryer Poznański“.

Sapienti sat.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

I to recenzya! Recenzye „Kuryera Poznańskiego“ zyskały już sobie rozgłos mimowolnej humorystyki w całem dziennikarstwie polskiem. Kwiatek jednak niezwykłej piękności uczczknęliśmy w sprawozdaniu z pierwszego występu pani Leszczyńskiej. Oto wyjątek z poważnej krytyki:

„Witaliśmy wczoraj na naszej scenie gwiazdę — źle mówię: „gwiazdę“ — gwiazdka, gwiazdeczka to raczej ten gość nasz, takie to swojskie, takie „dobrze znajome“, jak ta oto gwiazdeczka, co to iskrzy się nademną na ukochanem niebie polskiem...“

To nic jeszcze, posłuchajmy dalej:

„We własnym jej (aktorki) interesie ośmielilibyśmy się (jaki odważny!) atoli prosić, aby pozwoliła obserwować się z audytoryum o ile możności *en fasse* (?!), oraz z prawego profilu, z lewego zaś co najwyżej w trzy czwarte; zdaje nam się również, że pewne ściągnięcie ust przy śmiechu byłoby korzystnem, choć z drugiej strony nie jesteśmy tak okrutni (poczciwina!), aby wymagać utajenia sznuru ząbków-perełek...“

„Kraj“ petersburski, cytując słowa powyższe, dodaje:

„Ciekawa rzecz, jaką profesyę uprawia p. recenzent: fryzyerstwo czy fotografię?“

* * *

A, no, nareszcie mamy tanie, popularne wydanie utworów Sienkiewicza.

„Bez dogmatu“ kosztuje 1 rs. 50 kop., „Potop“ — 3 rs., „Pójdźmy za nim!“ 4 kop., „Janko muzykant“ — jedną kopiejkę. Dodajemy tylko małe wyjaśnienie, że są to ceny wydań w języku rosyjskim.

Niesłuszną jednak byłoby rzeczą czynić z tego zarzut naszym wydawcom utworów Sienkiewicza. Muszą oni płacić honoraryum autorowi, a więc nie są w stanie tak tanio dostarczyć oryginał, jak tanio wychodzą tłomaczenia. Zdaje się wszakże, że nowe prawodawstwo cywilne w Rosyi, wzbraniając przedruków i tłomaczeń, bez zgody autora resp. wydawcy, pewną równowagę cen przywróci.

* * *

Ważne wydawnictwo ma się wkrótce ukazać w Lipsku w języku rosyjskim, obejmujące obraz stósunków polsko-rosyjskich na Litwie i Białorusi, od czasów wielkorządztwa jenerał-gubernatora Albedyńskiego aż do dni naszych. Praca ta będzie posiadać nietylko doniosłość polityczną, ale także i historyczną. Opierać się bowiem będzie na całym szeregu dokumentów autentycznych, jakoto: praw, rozporządzeń, cyrkularzy, tajnych instrukcyi itd., pochodzących bądź to z kancelaryi jenerał-gubernatorskiej w Wilnie, bądź to z archiwum ministerstwa spraw wewnętrznych i przybocznej kancelaryi carskiej do decyzyi o różnych prośbach i podaniach. Znajdą się w tem wydawnictwie nawet listy jenerał-gubernotorów wileńskich, charakteryzujące poufnie stósunki i usposobienie ludności miejscowej. Szczególniej znajdzie w niej szerokie uwzględnienie stosunek rządu do ludności wiejskiej i wpływ polityki rządowej na usposobienie tej ostatniej. Za oryginałem rosyjskim, który już w tych dniach wyjdzie z pod prasy,

ukażą się wkrótce tłómaczenia w następującym porządku: w języku polskim, francuzkim i niemieckim.

* * *

Piotr Chmielowski poprzedził zbiorowy przekład „Poematów Byrona“, wydany nakładem S. Lewenthala w Warszawie, nader interesującą przedmową. W przedmowie tej poświęca krytyk bardzo pochlebną ocenę tłomaczeniu „Wędrówek Harolda“, dokonanemu przez Jana Kasprowicza, Wielkopolanina. Chmielowski przyznaje Kasprowiczowi „talent znakomity, staranność wielką i umiejętność przejmowania się tonem i nastrojem poetów obcych.“

* * *

Dr. *Zofia Jotejkówna* wygłosiła w Warszawie odczyt: „o potrzebie wiadomości chemicznych dla rolników.“ Licznie zebrana publiczność z największem zajęciem przysłuchiwała się interesującej prelekcyi.

* * *

Pan *Wacław Karczewski* zamieścił w „Kraju“ petersburskim artykuł o T. T. Jeżu, oparty na szczegółach biograficznych, których mu sam autor „Uskoków“ dostarczył, i na literackich z nim pogadankach. Z artykułu tego wyjmujemy ustęp następujący:

„Jeż literatem został, a ktoby się tego spodziewał, z przypadku, z okazyi. Pisywał wprawdzie przygodnie już w latach 1850 i 1851 w Londynie, znalazłszy się jednak dopiero w Konstantynopolu około roku 1857, a zajęcia nie mając żadnego, przesłał redaktorowi „Gazety Warszawskiej“ Lesznowskiemu, ot, na chybił trafił, korespondencyą z nad Bosforu, z propozycyą pisywania ich dalej. List ten, wraz z propozycyą, redaktor „Gazety“ przyjął z podziękowaniem i zapytał autora, jakiego w zamian życzyłby sobie honoraryum. Charakterystyczną, bo malującą człowieka, była odpowiedź Jeża; oto zażądał od listu aż (!!) 5 franków wynagrodzenia, prosząc, aby mu je przesyłano po uzbieraniu pewnej sumki, a i to, jak mnie zapewniał, niesłychanie skromne żądanie stawiał ze strachem, w obawie, ażali zbyt wygórowanych nie domaga się warunków. Jakież tedy było zdziwienie świeżo mianowanego korespondenta „Gazety“, gdy niebawem, z okazyi nowego roku, Lesznowski, oprócz żądanego honoraryum, jako gratyfikacyą „na gwiazdkę“ dorzucił 400 franków od siebie, a nadto zawiadomił poczynającego literata, iż mu w przyszłości za każdy list płacić będzie po 40 fr. Prawda, że pod owe czasy daleko jeszcze było do fin de siecle'u. Później bywało inaczej, w kraju wydawano utwory Jeża, nie pytając się o pozwolenie bodaj autora, ani mu się chociaż niekosztownem „Bóg zapłać“ wywdzięczając za to; pewien zaś anglik, uzyskawszy od niego aprobatę na tłómaczenie „Uskoków“, wydał je jako własne dzieło, zaopatrzywszy je tylko dopiskiem, jako pomocnemi mu były w tworzeniu prace Zygmunta Miłkowskiego“.

Zapytywany przez p. Karczewskiego o dzieję pierwszej powieści, Jeż takich udzielił informacyi:

„To także wypadek, a napisałem ją także w Konstantynopolu. Obracałem się wówczas w kółku młodzieży, między którą i zajmujących się literaturą nie brakło, jak poeci: Karol Brzozowski i Henryk Jabłoński. Otóż pewnego razu opowiadałem im romantyczny epizod z życia licznych w owej epoce na Dobruczy zbiegów od poddaństwa z Ukrainy, a treść opowiadania mego wydała im się doskonałym tematem powieściowym. Żałowali jeno, że jako poeci, do rymów przewykli, niedostatecznie władali prozą, aby się samym zabrać do dzieła. I byłaby sprawa przebrzmiała bez echa, gdyby nie Włodzimierz Kozłowski (brat Zygmunta, posła do Rady państwa), z którym mieszkałem razem, a który jął mnie nalegać, abym sił spróbował. I spróbowałem. Po wykończeniu pierwszego rozdziału odczytałem go Kozłowskiemu, podobał się, kolejno tedy odczytywałem mu następne, aż się powieść skleiła, pod tytułem „Wasyla Hołuba“, drukowana w „Dzienniku Literackim. Kształciłem się specyalnie w naukach matematycznych. jak pan zatem widzi, w gronie literatów znalazłem się niby deus ex machina, przypadkiem — i literatem zostałem.“

* * *

Miałem już nieraz przyjemność, i to prawdziwą, wspomnieć, że się coś psuje w okrzyczanej sumienności naukowej naszych najserdeczniejszych sąsiadów zachodnich. Przyjemność tę sprawię sobie dzisiaj znowu.

Mieszka sobie w Rawiczu pan Fr. (zapewne Franz, a może Fryderyk, o co mniejsza) Hengstenberg. Pan ten jest profeserem w miejscowem gimnazyum, a więc słusznie wymagać można od niego, aby znał historyę. On sam też widocznie jest zdania, że przetrawił gruntownie wiedzę historyczną, kiedy napisał rozprawę, p. t. „Geschichte des Deutschtums in der Provinz Posen vor ihrem ersten Anfall an Preussen“. Rozprawę tę wydrukowano w sprawozdaniu gimnazyalnem z r. 1894, a więc za jej wartość odpowiada nietylko sam autor, ale całe uczone grono nauczycielskie. Rozprawa ta ma mieć również na celu wykształcenie umysłów i podniesienie serc młodzieży niemieckiej, o czem świadczą w tytule wyrazy: „für die deutsche Jugend der Provinz“.

Pomijam już to, iż według p. Hengstenberga, przejście pod panowanie pruskie prowincyi poznańskiej było dobrodziejstwem dla polaków i że mieszkańcy tego kraju niemieckiego pochodzenia przeszli „ze smutnej przeszłości do szczęśliwej teraźniejszości“, ale dowiadujemy się z rozprawy kilku całkiem nowych rzeczy, spotykamy się z wielkiemi odkryciami historycznemi. Oto parę próbek:

„Kraj nad Wartą — twierdzi uczony z Rawicza — był bezwątpienia już raz ziemią germańską“. Wierzymy, bo któżby niemcom nie wierzył, ale pragnęlibyśmy dowodów. Na nieszczęście, p. Hengstenberg ich nie posiada, bo „do połowy X wieku pomroka zakrywa losy tego kraju“ (str. 2).

Popiel znaczy tyle, co burzyciel“, Chościsko znaczy tyle, co „wędrownik“ objaśnia nas na stronie 4 wielce uczony autor.

Dzięki jego, źródłowym zapewne, badaniom, dowiadujemy się o pomyłkach tak w chronologii jak i w nazwie samego Poznania. Dotychczas sądziliśmy naiwnie, że Poznań nazywał się Poznań i że w roku 1440 panował w Polsce młodziuchny syn Jagiełły, Władysław, który w cztery lata później zginął pod Warną. Tymczasem wszystko to nieprawda, gdyż pan Hengstenberg wie dokładnie, iż w r. 1440 król Kazimierz IV przybył do miasta „Deutsch-Posen“ (str. 41).

Po tych próbkach śmiało możemy przypuszczać, iż w p. Hengstenbergu nie zyska nowej gwiazdy niemiecka historyografia, ale za to autor zyska dozgonnego przyjaciela w pustelniku z Friedrichsruhe.“ *B.*

* * *

Na liczne zapytania, z jakich powodów rząd rosyjski odmówił Helenie Modrzejewskiej prawa do gościnnych występów w Warszawie i Petersburgu, odpowiadamy, że przyczyną banicyi jest mowa słynnej artystki, wygłoszona na kongresie kobiecym w Chicago. W całości mowy tej dla braku miejsca cytować nie możemy, — powtarzamy jednak ustęp charakterystyczny, który niewątpliwie w pierwszym rzędzie spowodował rozporządzenie banicyjne. Ustęp ten brzmi:

„Kiedy nasi mężowie, zmęczeni wojną i klęskami — rozpaczali i tracili odwagę, kobieta Polka stała jakoby anioł stróż przy drzwiach ich sumienia. Ona ich wzmacniała i pobudzała do poświęcenia życia dla dobra ojczyzny. Ona uczyła swych synów, jak stawić opór nieprzyjaciołom. Ona przechowywała tradycye honoru, patryotyzmu, odwagi i prawości — nie odpoczywając ani na jedną chwilę, lecz z dziwną wytrwałością pomimo kul, kajdanów, Sybiru, a nawet i knuta, którym ją często karano na wieczną hańbę rządu rosyjskiego.

„Nieprzyjaciele nasi niesłychanie mylą się — sądząc, że mogą zniweczyć polski patryotyzm. O tak! mylą się — bo póki będzie żyła jedna Polka — Polska nie zginie! — a im bardziej nas prześladują, tem dla nas lepiej!...

„Kiedy okrutny car Mikołaj prosił sławnego malarza francuzkiego, pana Vernet o namalowanie bitw staczanych z nami artysta odpowiedział mu: Najjaśniejszy Panie, nigdy nie malowałem Chrystusa na krzyżu! I miał zupełną słuszność — Polska została ukrzyżowana przez bezmyślną tłuszczę cara za jego rozkazem. Ale tam — pod krzyżem Chrystusa, klęczała Matka, czekając cierpliwie zmartwychwstania — tak jak dziś klęczy Matka Polka, czekając cierpliwie i modląc się o zmartwychwstanie zamordowanej Polski... Czyż będzie czekała na wieki? Nie! — jeżeli jest sprawiedliwość na świecie — to daremnie czekać nie będzie“.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Węgierska izba magnatów odrzuciła wszystkie paragrafy dotyczące bezwyznaniowości. Projekt powróci zatem raz jeszcze do izby deputowanych. — Niektóre pisma konserwatywne żądają, aby rząd niemiecki wypracował nowe prawo przeciw socyalistom. „Schles. Ztg.“ domaga się zupełnie otwarcie, aby państwa związkowe zniosły parlament i założyły nową rzeszę bez powszechnego prawa wyborczego. Coraz lepiej! — W Pradze powstało nowe pismo młodoczeskie p. t. „Czeskie Noviny“. Organ ten ma współzawodniczyć z staroczeską „Polityką“. — Wydział lekarski wszechnicy Jagiellońskiej przedstawił ministerstwu trzech kandydatów na opróżnioną katedrę oftalmologii: prof. dr. Wicherkiewicza z Poznania, prof. dr. Borysikiewicza z Grazu i prof. dr. Machoka ze Lwowa.

Zjazdy i kongresy. Szósty walny zjazd Śpiewaków polskich odbędzie się w Gnieźnie 29 i 30 czerwca oraz 1 lipca. Główne popisy w śpiewie przypadają na niedzielę 30 czerwca. — W Petersburgu odbyła się konferencya producentów lnu.

Teatr i muzyka. Poznańskie towarzystwo dramatyczne udaje się na występy do Gniewkowa, Żnina, Kcyni i Wągrowca. — Warszawski Teatr Mały przystąpił do prób Straussowskiej operetki „Jabuka“. — Jeden z warszawskich księgarzy przygotowuje wydawnictwo nieogłoszonych jeszcze utworów St. Moniuszki. — P. Ruszkowski rozpoczął szereg gościnnych występów na scenie krakowskiej. — Teatr Stanisławowski występuje obecnie w Kołomyi, a następnie udaje się do Krynicy. — Modrzejewska rozpoczyna 15 czerwca szereg gościnnych występów na lwowskiej scenie.

Kursy lekarskie dla kobiet. „Nowoje Wremia“ donosi, że w sobotę w rosyjskiej radzie stanu roztrząsaną była kwestya otwarcia w Petersburgu kursów lekarskich dla kobiet. Rada stanu przyjęła w zasadzie projekt założenia instytutu lekarskiego dla kobiet, podnoszono tylko zarzuty przeciwko szczegółom projektu. Zarzuty dotyczyły wymagania znajomości języka greckiego od kandydatek a także czasu trwania nauki w instytucie. Zamiast projektowanego czteroletniego kursu, postanowiono, że nauka w instytucie trwać będzie 5 lat czyli 10 semestrów. Przy instytucie ma być urządzony internat. Od zapisujących się będzie wymagane pozwolenie rodziców, a względnie męża. Postanowiono także dopuszczać kobiety, posiadające dyplom lekarski, do ekspertyzy sądowej.

Do instytutu mają być przyjmowane kandydatki w wieku od lat 20 do 35. Gmach instytutu ma stanąć w pobliżu szpitala Obuchowskiego i wraz z urządzeniem ma kosztować 224,000 rs. Opłata za prawo słuchania lekcyi ma wynosić 100 rs. rocznie.

Zmarli:

Dr. Karol Ludwig, prof. zoologii, zm. w Lipsku 24 kwietnia.

Dr. Karol Lueder, prof. prawa karnego w Erlangen, zm. 24 kwietnia.

Odpowiedzi Redakcyi.

A. Z. Z łaskawie nadesłanych utworów korzystać nie możemy.

S. S. Odpowiedź w sprawie „Jehowy“ znajduje się w Nr. 17.

Mel. Są to pogłoski, których stwierdzić na razie niepodobna. Osoby zwykle dobrze poinformowane wyrażają się dwuznacznie.

A. i B. Skorzystamy przy sposobności. Szczegóły nadesłane rzucają ciekawe światło na krytykę poznańską, lubo należą już do przeszłości.

BIBLIOGRAFIA.

Sprawozdanie z zarządu muzeum narodowego w Rapperswylu za rok 1894. Paryż 1895.

Piotr Chmielowski. Współcześni poeci polscy. Petersburg 1895.

Złote myśli Adama Mickiewicza. Petersburg 1895. Wydanie drugie.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

B. S. z Wrześni 1,00 mr.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 722,50 mr.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

B. S. z Wrześni 2,00 mr.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 511,80 mr.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 21. Poznań, Niedziela 26go maja 1895r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TRESC.

Zamieszanie.

Nigdy może nie ujawnił się tak wyraziście dziwaczny stosunek Koła polskiego do społeczeństwa jak w chwili obecnej, gdy po ustawie przewrotowej nic nie pozostało, prócz wspomnień walki przedśmiertnej i całego roju chłodnych nekrologów. Zupełne odgraniczenie posłów naszych od rzeszy wyborców, bezwzględna tajemnica osłaniająca całą działalność polskicj reprezentacyi w sejmie i parlamencie, wreszcie ten upór dziecinny, aby, na przekór coraz głośniejszym żądaniom społeczeństwa, nawet tam usta sznurować lub rolę Pytyi odgrywać, gdzie milczenie spowodować może fatalne zamieszanie i nieobliczone szkody sprawie publicznej wyrządzić, — oto rana bolesna chwili obecnej. Jakie zaś skutki ta bezprzykładna anomalia za sobą pociąga, o tem świadczy najwymowniej przykład następujący.

Gdy ustawę przewrotową złożono do grobu, podały wszystkie pisma berlińskie wiadomość, że Koło polskie głosowało za całym projektem komisyjnym z wyjątkiem § 111. Prasa polska, nie zasilana żadnemi informacyami z sekretaryatu reprezentacyi naszej, nie posiadająca z motywów finansowej natury własnych parlamentarnych korespondentów w stolicy i skazana na przepisywanie komunikatów prasy niemieckiej, powtórzyła bez wyjątku wieść alarmującą i oburzającą całe społeczeństwo. Nawet *„Dziennik Poznański“*, uchodzący za znakomite źródło informacyjne w dziedzinie życia parlamentarnego, zamieścił referat zgodny z wszystkiemi szczegółami dzienników berlińskich. Dla uprzytomnienia czytelnikom naszym tego sprawozdania cytujemy następujące wyjątki:

W Nr. 109 streszcza „Dziennik Poznański“ obrady nad § 111 projektu komisyjnego i taką w końcu podaje informacyę: *„Za uchwałami komisyi głosowało tylko centrum i konserwatysta Massow.“* Według tej relacyi zatem Koło polskie głosowało przeciw § 111.

W Nr. 110 publikuje „Dziennik Poznański“ końcowe sceny kampanii parlamentarnej i w sprawie § 112 taką zamieszcza wiadomość: *„Uchwałę komisyi odrzucono przeciw głosom centrum i Koła polskiego“*. Koło polskie głosowało zatem za § 112.

Następnie podaje „Dziennik“ wniosek posła Richtera o głosowanie bez dyskusyi nad dalszemi paragrafami ustawy i kończy sprawozdanie swoje w słowach następujących.

„W ciągu głosowania nad projektem rządowym głosował nad poszczególnemi paragrafami wśród wielkiej wesołości izby tylko jeden konserwatysta, zawsze inny. **Za uchwałami komisyi głosowało tylko centrum i Koło polskie.** Wniosek centrum o obostrzeniu przepisów karnych przeciw pojedynkom odrzucono przeciw głosom centrum i Koła polskiego. Za skreśleniem t. zw. ambonowego paragrafu (Kanzelparagraph) głosowało także tylko centrum i Koło polskie. Na tem cały projekt w wszelakiej formie definitywnie odrzucono i petycye, które nadesłano parlamentowi w sprawie projektu, tem samem załatwiono“.

A zatem „Dziennik Poznański“ oświadczył wyraźnie, że Koło polskie głosowało za całym projektem komisyjnym, z wyjątkiem § 111, i doniesienia tego nie sprostował ani jednem słowem. Oparci na takiem źródle informacyjnem i na równobrzmiących referatach najpoważniejszych dzienników niemieckich, zamieściliśmy w ubiegłym tygodniu artykuł p. t. „Niepoprawni“, zawierający poważną krytykę przedstawicieli naszych w parlamencie niemieckim, którzy, wbrew opinii publicznej, wbrew głośno zamanifestowanej woli narodu, głosy swoje oddali za całym projektem komisyjnym z wyjątkiem jednego paragrafu. Nagle, — już po wydrukowaniu artykułu i złamaniu pierwszych stronnic „Przeglądu“, — ukazuje się w piątek wieczorem mowa posła Czarlińskiego, zawierająca następującą uwagę:

„Niektóre z pism podały wiadomość, powtórzoną następnie także przez kilka pism polskich, że Polacy głosowali za projektem przewrotowym. To jest po prostu nieprawdą. Uważam to wprawdzie nie za umyślny, ale po naszych oświadczeniach za trudny do wytłomaczenia fałsz, który niniejszem odpieram z całą stanowczością i oburzeniem.“

Mimo „stanowczości i oburzenia“, ktoremi Szanowny poseł odpiera wiadomości prasy niemieckiej i polskiej, uderzyć musi każdego dziwnie ogólnikowy ton rzekomego sprostowania. Niewyjaśnionem bowiem pozostaje: 1) Czy poseł Czarliński mówi o „projekcie przewrotowym“ w brzmieniu ustawy rządowej, czy w brzmieniu uchwał komisyjnych. 2) Jeżeli istotnie, — a takie jest nasze mniemanie, — słowa jego dotyczą projektu komisyjnego, to mimowoli nasuwa się pytanie, czy posłowie polscy głosowali przeciw całej ustawie bez wyjątku, czy też tylko przeciw kilku jej paragrafom. Możliwe są tu trzy przypuszczenia, które ująć można w ramy ogólnikowego sprostowania: a) Koło polskie stanęło w opozycyi do wszystkich uchwał komisyi. b) Koło polskie głosowało tylko za nieznaczną cząstką ustawy komisyjnej i protestuje przeciw pogłoskom, jakoby głosowało za całym projektem. Czemuż jednak nie wyszczególnia swego „za“ i „przeciw?“ c) Koło polskie głosowała za ustawą komisyjną, z jedynem wyjątkiem § 111, i zaprzeczeniem swojem pragnie temu wyjątkowi nadać ogólniejsze i tem samem donioślejsze znaczenie.

Zamieszania tego nie usunęło również oświadczenie „Gońca Wielkopolskiego“, że Koło polskie głosowało tylko za zniesieniem „paragrafu ambonowego“ i za „ściślejszem przestrzeganiem moralności“. Pomijając nieurzędowy charakter tego komunikatu, to określenie w drugiej części jest tu znowu tak ogólnikowem i elastycznem, że trudno nam wobec niego jakiekolwiek zająć stanowisko. W pismach berlińskich nie pojawiło się dotychczas również żadne sprostowanie, a na telegraficzne zapytanie u jednego z referentów parlamentarnych do gazet wiedeńskich i warszawskich otrzymaliśmy taką odpowiedź: „Koło polskie głosowało przeciw § 111, zresztą za całym projektem komisyjnym“. Wobec tak niejasnej sytuacyi cofnąć jeszcze nie możemy krytyki naszej, zawartej w artykule p. t. „Niepoprawni“, a uczynimy to dopiero wtedy, gdy „Koło polskie“ zdecyduje się przemówić wyraźnie i wyszczególnić według liczbowych oznaczeń te paragrafy, za i przeciw którym głosowało; o przebiegu sprawy przekona nas ostatecznie urzędowe sprawozdanie, którego dotychczas redakcye nie otrzymały, ale stanowisko posłów naszych posiada takie znaczenie i tak niepokojąco wpływa na opinię, że „Koło polskie“ powinno natychmiast uwiadomić prasę o szczegółach głosowania. Otwartej i szybkiej informacyi wymaga stanowczo interes społeczeństwa.

Tyle co do istoty tej mętnej i zawiłej sprawy, która na niezdrowe stosunki zaboru pruskiego znów dziwnie charakterystyczne rzuciła światło. Społeczeństwo rwie się do urny wyborczej, wysyła przedstawicieli swoich do Berlina, powierza im obronę spraw najżywotniejszych a w końcu nie wie, jak posłowie jego głosowali, czem są, co czują, co myślą. Jest to tak straszna ironia parlamentaryzmu, takie sztuczne umałoletnienie rzeszy wyborców, tak niesłychana anomalia w dziejach polityki europejskiej, że chwilami doznaje się wrażenia, jakoby to wszystko było tylko jakąś legendą

o nieistniejącej krainie, czemś w rodzaju tajemniczej „Utopii“. Potrzebę muru chińskiego między posłami a społeczeństwem uzasadnia „Koło polskie“ względami dyplomatycznemi. ale zapytujemy się, jaka dyplomacya wymagać może gry w ślepą babkę tam, gdzie nic innego nie stanowi kwestyi spornej, tylko ścisłe informacye o głosowaniu posłów polskich na publicznem posiedzeniu parlamentu.

I nie rozumiemy też owych doniosłych względów taktycznych, które najgłębszą tajemnicą osłaniają stanowisko posłów poszczególnych w żywotnych kwestyach natury politycznej lub ekonomicznej. Solidarność Koła polskiego na zewnątrz jest nieodzownym warunkiem skutecznej działalności w życiu parlamentarnem, ale solidarność Koła polskiego na wewnątrz, — to zaryglowanie ust poselskich wobec wyborców, ten obowiązek nałożony na posłów, aby zawsze wobec społeczeństwa występowali jako wyraz „Koła“ a nigdy jako polityczna indywidualność, to ostatecznie równa się komendzie: „Wybierajcie posłów waszych na oślep, nie znając ich zasad politycznych, ich stanowiska w Kole, ich stosunku do was!“ W takich warunkach ustaje wszelka krytyka, bo jakże pociągnąć poszczególnych wybrańców społeczeństwa do odpowiedzialności, jeźli żadnemu z nich nie wolno powiedzieć głośno, czy to lub owo zapatrywanie reprezentował w Kole, czy należał do zwycięzkiej większości lub zwyciężonej mniejszości, czy głosował jedynie pod presyą solidarności, czy też w zgodzie z własnym mózgiem i sercem. A tych egipskich ciemności broni Koło polskie z dziwną zaciętością, o czem w najświeższym czasie zaświadczyła znowu sprawa dr. Krzymińskiego. Kujawski poseł odważył się zakomunikować wyborcom w otwartym liście poglądy swoje na ustawę przewrotową i w mgnieniu oka ozwały się na alarm moździerze „Kuryerowe“, a Koło polskie wyraziło poufnie niezadowolenie z postępowania posła-kolegi, aczkolwiek krytyki swojej nie ujęło w formę „wotum niezaufania“.

Idziemy zatem do urny wyborczej i głos nasz oddajemy na żywe domyślniki lub znaki zapytania, — tego pragnie „Koło“ i garść patronów absolutyzmu politycznego. Takim stosunkom jednak rzuca rękawicę zdrowe społeczeństwo i woła coraz głośniej, aby wobec rządu stała tylko frakcya, wobec społeczeństwa poseł-jednostka.

POLITYKA.

Konflikt ministeryalny na Węgrzech.

I.

Buda-Peszt, 18 maja.

Rozgrywający się dziś na Węgrzech kryzys ministeryalny przybrał rozmiary podstawowej kwestyi międzynarodowego prawa. — Historya jego, nader prosta, da się streścić w niewielu słowach. Nuncyusz papiezki, kardynał Agliardi pojechał był na dni parę do Węgier. Zachowaniem się swem zrodził on zarówno w narodzie jako też i w kołach rządowych przekonanie o agitacyjnych celach swej podróży. Liberalna prawica, stojąca dziś u steru spraw państwowych, nie pokryła faktu tego milczeniem. Z łona jej pojawiła się interpelacya, w odpowiedzi na którą prezes ministrów Banffy oświadczył, iż wraz z ministrem spraw wewnętrznych uczynił już odpowiednie kroki, żądając od Watykanu wytłomaczenia nietaktownego postępowania kardynała Agliardi. W parę dni potem pojawia się artykuł Kalnoky'ego, potępiający w możliwie najsurowszy sposób oświadczenie węgierskiego prezesa gabinetu. Pociągnęło to za sobą cały szereg owych not i kontrnot, któremi wszyscy reporterzy pism całego świata tak bardzo dziś się zajmują.

Po za ową zasłoną interesujących wiadomości dnia ukrywają się wszakże dwie nader poważne kwestye.

Pierwsza z nich to owa odwieczna sporna sprawa stosunku kościoła do państwa. Pozornie rozstrzygnięta przez nasze stulecie — wyszła dziś ona na Węgrzech w nowej formie na jaw. Czy nuncyusz papieski jest przedstawicielem głowy kościoła, czy też reprezentantem dyplomatycznym jednego z panujących władców — oto jej treść właściwa. W pierwszym wypadku reprezentowałby on władzę papieską przed całym narodem, w drugim jedynie wobec poszczególnych rządów. W pierwszym wypadku musiałoby mu z konieczności rzeczy przysługiwać prawo przemawiania do katolików danego kraju, zarówno do książąt kościoła, jako też i do całej rzeszy wiernych, w drugim musi mu to być wzbronionem. W pierwszym wypadku należy mu się prawo mięszania do wewnętrznych spraw kraju, mianowicie do wszelkich kwestyi religii i sumienia, w drugim będzie to przekroczeniem zakresu jego kompetencyi.

Powszechną tendencyą doby dzisiejszej — jest rozgraniczenie władzy duchownej od świeckiej. Kościół ma mieć pozostawioną zupełną swobodę w sprawach wiary i moralności, natomiast zaś winien być pozbawionym prawa mięszania się do spraw politycznych. Zasadę tę przyjęły wszystkie niemal państwa europejskie. Czy jednak tem samem rozstrzygnęły one ostatecznie ów spór, który się od czasów walk o inwestytury po dziś dzień ciągnie. Bynajmniej. Już istnienie podobnych konfliktów, jak ten, co się teraz na Węgrzech rozgrywa, dowodzi, że tak nie jest, że rozstrzygnięcie było powierzchownem jeno.

I w rzeczy samej, jeśliby owo rozgraniczenie kompetencyi władzy duchownej i świeckiej było całkowitem, — w takim razie nie miałby najmniejszej racyi bytu przedstawiciel głowy kościoła przed kierownikami władz państwowych. Nuncyusz papieski przy dworach panujących byłby anomalią, rzeczą sprzeczną samą w sobie. Jeśli wszakże tak jest, dowodzi to, że w rzeczywistości sprawy świeckie zahaczają wciąż o duchowne, że polityka państw dzisiejszych musi co chwila zatrącać o kwestye sumienia obywateli kraju, i odwrotnie.

Na cóż się jednak przydadzą w takim razie najściślejsze, najlogiczniejsze nawet dedukcye z ogólnych zasad, gdy zasady te przeprowadzone są raczej w traktatach międzynarodowego prawa, niż w istniejących u rządów i narodów poglądach. Gdy staniemy wobec pierwszej lepszej trochę więcej zawiłej kwestyi — będziem musieli zawsze przyjść do tak niejasnego, nieokreślonego wyniku, jak odpowiedź hr. Kalnoky'ego na notę węgierskiego prezesa gabinetu: „Nuncyuszowi papieskiemu należy się wszelka względność, wtrącać się wszakże do spraw wewnętrznych kraju nie ma on prawa.“

Lecz przecież sprawy ślubów wkraczają i w dziedzinę religii, a nuncyusz papieski jest dostojnikiem kościoła. Jako takiego zaś musza go obchodzić sprawy religijne wiernych wszelkiej narodowości, bo kościół jest międzynarodowy. Czyż względność dla posłannika Ojca św. nie nakazywałaby pozostawiać mu wszelką swobodę w pełnieniu swych obowiązków?

I oto widzimy, jaka sprzeczność kryje się w słowach austro-węgierskiego ministra spraw wewnętrznych.

Takąż samą nierozwiązalną dziś antynomią jest całe stanowisko rządu węgierskiego. Za pomocą praw o ślubach cywilnych, o recepcie żydów, o przechodzeniu z jednej religii do drugiej, o gminach bezwyznaniowych — chce on ścisłego rozgraniczenia kompetencyi władz

---

WŁADYSŁAW RABSKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(Ciąg dalszy).

KOSTECKI.

I co ty na to, Zygmuncie?

WOLSKI.

To Pyrrhusowe zwycięstwo. Choć dziś padniemy, jutro nasze....

WISŁOWSKI.

Aura popularis! Jesienna pogoda! Na rękach nosili Wisłowskiego, a dziś ciągną rydwany Wareckich.

KOSTECKI.

Winujmy siebie, nie innych. Oni zręcznie jak frygi tańcują przed ludem, a my z szlachetną powagą prawimy o wielkiej idei demokratycznej. Radziłem nieraz bić ich własną bronią, zastawiać sidła i zatrzaski. Napróżno! Tobie, Zygmuncie, każda sztuczka grzechem się wydaje. Ot! macie rezultat. Polityczne kuglarstwo zwyciężyło polityczną cnotę.

WOLSKI.

Do kuglarstwa zniżyć się nie mogę.

WISŁOWSKI.

Ale w artykułach pańskich jest miękkość pewna od kiku miesięcy. *Nihil admirari!* I ja się nie dziwię, że Samson znalazł Dalilę swoją *(śmieje się)*.

WOLSKI.

Co to znaczy? *(Chwila milczenia)*. Czemu milczycie? Jeżeli przed sąd wzywacie, ja się nie ulęknę. Miesiące całe, za dnia i w nocy, jak pies warowałem na straży Trybuny i nikt tam nie wtargnął, nawet żona moja. Miotacie oszczerstwa! Dowodów... ja dowodów żądam.

KOSTECKI.

Nie chcę cię oskarżać, Zygmuncie, ale żal mi, że wszystkie rachunki sumienia, ktore zaprezentować chciałem Wareckim pokaleczyłeś ołówkiem czerwonym. Lepiłem satyry, a tyś im jelita wypruwał. *(śmieje się)* I to się polityką zowie.

WOLSKI.

Uczciwością, mój drogi. Każdy twój artykuł to kłamstwo, a ja kłamstwem nie splamię Trybuny. Nie jaskrawą zemstą motłochu, lecz bohaterstwem lśnić powinno zwycięstwo nasze.

KOSTECKI.

Bawisz się w sentymentalizm. Etyka w polityce, to frak i lakierki w zadymionej kuźni, to broń biszkoptowa wobec zwierząt dzikich. Idź do lasu i palnij rozbójnikom kazanie o miłości bliźniego. Zarżną cię jak kurczę. Czy nas Bismark tak mało nauczył? Czyż wieczne Irydjon i Psalmy będą ideałem polityki naszej? Daruj! ale robisz istotnie wrażenie politycznej pensyonarki.

WOLSKI.

O! za pozwoleniem. Zwycięstwo oparte na sztuczkach kuglarskich jest nikłe jak bańka mydlana. *(wchodzi Frania)* Co tam?

FRANIA.

Jakiś człowiek przyszedł i chce się widzieć z panem.

WOLSKI.

Jak się nazywa?

FRANIA.

Mówi, że Turkiewicz.

WOLSKI.

Kto to być może? *(po chwili namysłu)* Wprowadź go. *(Frania wychodzi, Wolski zamyśla się.)* Turkiewicz? Coś mi się przypomina *(wchodzi Turkiewicz, w ręku trzyma paczkę owiązaną chustką czerwoną)*.

Scena V.

Ciż i Turkiewicz.

TURKIEWICZ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

WOLSKI.

A! to ty poczciwcze! No i cóż tam przynosisz?

ścielnych i świeckich. Same już jednak przeprowadzenie ślubów cywilnych równoważy się wdzieraniu władz cywilnych w kwestye sumienia. Gdzież więc konsekwencya!

Spojrzmy na drugą z obu stron walczących. I w jej zachowaniu się nie mniej jest sprzeczności. Broni ona niby wolności sumienia, jednocześnie wszakże niechce przyznać tej swobody w kwestyach wiary, której dla siebie się domaga, innym wyznaniom, naprzykład mojżeszowemu, lub też gminom bezwyznaniowym.

Zarówno więc liberalna jak i ludowa (klerykalna) partya są winne i winne w jednakowej mierze. Obie one grzeszą niekonsekwencyą, brakiem wierności wobec zasad swoich, które stosują wtedy tylko, gdy własne ich interesy na tem zyskują.

Pytać się, kto pierwszy tu zawinił, byłoby zbyteczne i próżne. Przyczyna wszystkich tych sprzeczności i niekonsekwencyi leży nie w poszczególnych partyach lub rządach. Znajduje się ona głębiej, — w panującej dziś u wszystkich europejskich narodów moralności.

Wielka rewolucya francuzka ogłosiła była prawa człowieka — lecz człowieka politycznego. Indywiduum ludzkie, jednostka kulturalna, etyczna, została nadal pozbawioną ich, jak była poprzednio. Wiek XIX nadał ludom europejskim prawo przedstawicielstwa ich interesów politycznych i ekonomicznych, lecz nie udzielił najważniejszego ze wszystkich ludzkich praw jednostce, prawa czuć i myśleć tak, jak ona tego chce, jak tego jej duchowy całokształt wymaga. Klasycznym przykładem prawdy tej jest zachowanie się centrum w czasie ostatniej kadencyi parlamentu rzeszy niemieckiej. Z emfazą głosiło się ono obrońcą prawa powszechnego głosowania i w tymżeż samym czasie przeprowadzało w komisyi dla „ustawy antyprzewrotowej“ projekta najsroższych ograniczeń swobody myśli i słowa. Dziwić się temu nie można. Geneza dzisiejszej oficyalnej cywilizacyi, co wynikła z walki interesów ekonomicznych stanu przemysłowego z feodalnem państwem — położyła niezatarte piętno na wszystkich jej przejawach. Jak w „zgromadzeniu narodowem“ hasła wolności i równości, deklaracya praw człowieka były jeno konsekwencyą lub przesłanką zdania Mirabeau „Czem jest stan trzeci? Niczem. Powinien być wszystkiem!“ — tak też i dziś zasady polityczne, prawno-państwowe, administracyjne zawsze i wszędzie są dekoracyą tendencyi gospodarczych. — A tam, gdzie prądy ekonomiczne życie społeczeństw niemal wyłącznie regulują, — tam nie ma miejsca dla praw indywiduum, dla swobody myśli i czucia poszczególnych jednostek *ludzkich*. Jednostką *ekonomiczną* bowiem jest nie człowiek, lecz klasa producentów!

W jakąż to jednak parodyą musiały się wszystkie owe swobody głosowania, prasy, zgromadzeń, owa zasada autonomii kościoła i państwa obrócić, gdy brakło najważniejszej i jedynie niewzruszalnej podstawy wszelkich swobód, wolnej, nieskrępowanej jednostki ludzkiej. Zrodziły one w swym rozwoju z konieczności rzeczy walkę kulturną i prawa wyjątkowe i ucisk narodowościowy i projekt ustawy antyprzewrotowej, no i dzisiejszy konflikt Banffy'ego z kardynałem Agliardim. Bankructwo parlamentaryzmu będzie też coraz głębszem, konflikty władz kościelnych z cywilnemi będą się coraz więcej z dniem każdym mnożyć, nić dzisiajszej cywilizacyi rwać się będzie coraz częściej, — aż póki ludzkość nie pojmie, że moralność dzisiejsza, co każe bliźnich inną miarą mierzyć, niż siebie samego, z gruntu jest fałszywą. Podobnych sprzeczności, jak ta, która w sprawie węgierskiego kryzysu ministeryalnego na jaw wyszła, — dzisiejsze życie kryje w sobie setki i tysiące. I nie zostaną one rozwiązane, póki ludzkość nie nauczy się tolerancyi, nie nauczy się cudzej jednostki szanować.

Lecz, by to się stało możliwem, należy, by życie całe inaczej się złożyło, by nie na materyalizmie interesów gospodarczych, lecz na kulturze pierwiastków duchowych się wsparło. I w tym celu trzeba dominującą dziś ponad wszystkiemi innemi przejawami życia zbiorowego walkę ekonomiczną zakończyć lub przynajmniej złagodzić. Bo gdy namiętności ludzkie są rozhukane, gdy masami uczucia glodu rządzą, gdy zmysły nie są zaspokojane — o życiu duchowem, o pielęgnowaniu skarbów myślowych i uczuciowych mowy być nie może. Sprawy etyki i zagadnienia myśli wysuną się na plan pierwszy dopiero wtedy, gdy kwestye żołądka zostaną rozwiązane.

I dla tego, choć również winny, — bliższym nam jest ruch liberalny od klerykalnego na Węgrzech, bo toruje on drogę do ostatecznego załatwienia poruszającego dzisiejsze społeczeństwa konfliktu ekonomicznego, który im prędzej zostanie zakończonym, tem bliższem będzie zwycięstwo ducha nad materyą, praw myśli nad prawami żołądka, indywiduum kulturalnego nad indywiduum politycznem.

Str.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„Gazeta Grudziądzka“ poświęciła w nr. 57 i 58 dwa energiczne artykuły politycznej działalności księży germanizatorów, nawiązując do smutnej historyi procesu sztumskiego. W artykule p. t. „Przekupnie w świątyni Pańskiej“ czytamy:

„Stosunki kościelne w dzielnicy naszej z dnia na dzień się pogarszają. — „Germanizacya przez kościół“, to dzisiaj już nie pusty frazes, nie widmo istniejące tylko w wyobraźni „agitatorów polskich“, to smutna rzeczywistość. „Germanizacya przez kościół“ dokonuje się u nas jawnie, a ci, którzy ją uprawiają, działają z wszelką świadomością. „Kto ma oczy ku widzeniu“, ten to widzieć musi, chyba, że widzieć nie chce, że umyślnie sobie oczy zasłania.

Nie chcemy tem bynajmniej powiedzieć, że Kościół nasz święty pochwala germanizacyą, że zgadza się na wydarcie Polakom języka ojczystego w zamian za udzielanie łask, których źródłem jest Chrystus Pan, broń Boże!...

Powiedział jednakże Chrystus Pan, że w Kościele jego znajdzie się kąkol między pszenicą, to też są księża, którzy, niegodni szaty kapłańskiej, gwałcą odwieczne zasady Kościoła. wydzierają ludowi polskiemu język jego ojczysty, wciskają do życia kościelnego zasady niemoralnej polityki świeckiej i zapominając, że są kapłanami, postępują z powierzonemi ich pieczy owieczkami, jak najemni siepacze władz świeckich.

Jakże się potem dziwić, że przychodzi do takich zajść jak w Sztumie! Rozpacz jest bowiem złym doradzcą...

Pobudki, któremi się germanizatorzy w postępowaniu swem kierują, są czysto materyalnej natury. O względy rządu im chodzi! Prześladowaniem Polaków, germanizowaniem ich pragną sobie widocznie utorować drogę do dobrego probostwa, lub kanonikatu rządowego, albo wytargować sobie orderek lub podobną błahostkę.

Słowa Chrystusa Pana o dobrym pasterzu, który daje życie za swe owieczki, mało ich widocznie obchodzą, oni wolą, że owieczki dają życie i swe moralne, życie swej duszy za ich wygody doczesne.“

W drugim artykule p. t. „Bardziej rządowi od samego rządu“ krytykuje „Gazeta Grudziądzka“ rozporządzenie ks. biskupa warmińskiego, aby od członków dozoru kościelnego odbierać przysięgę w języku niemieckim.

Rozporządzenie to spowodowało, jak wia

TURKIEWICZ.

Nic wesołego wielmożny, panie. Śmierć... (*obciera oczy.*)

WOLSKI.

Co się stało?

TURKIEWICZ.

Mój pan umarł dziś w nocy.

WOLSKI.

Co? Warecki?

TURKIEWICZ.

Nie! to nie mój pan. Ja jedno państwo miałem... (*łkając*) 20 lat służyłem u Ruszczewskich, a teraz koniec... koniec.

WOLSKI.

Co? umarł Ruszczewski?

TURKIEWICZ.

Te Karłowice to śmierć była dla pana mojego. Wciąż gryzł się i płakał, a gdy się pytałem, zkąd mu się bierze ten smutek, to tylko głowę ściskał i mówił, że czas mu umierać. A potem sprzedaliśmy wieś... Czemu? pytać nie śmiałem, bo jak ci panowie z miasta przyjechali, to taki bledziuchny był jak ta firanka. Myślałem, że jak na bruku zamieszkamy, to ten smutek minie, ale mój Wielmożny wnet się zaczął pokładać i więcej też nie wstał. Nic nie mówił, tylko myślał, wzdychał i łzy ocierał, a jak mu gazety przyniosłem, to tak patrzał, jakby złe zobaczył.

WISŁOWSKI.

To głos sumienia.

WOLSKI.

Cóż dalej?

TURKIEWICZ.

Jakoś tak było koło piętnastego jak mu wieczorem na stół położyłem dzienniki, a gdy wróciłem do pokoju, to siedział nad gazetami i ledwom go poznał, bo taki siny był i takie dzikie miał oczy.

KOSTECKI.

To nasze artykuły.

TURKIEWICZ.

Słyszałem, jak całą noc chodził po pokoju, jakieś listy z biurka wyciągał, wszystko włożył do wielkiej koperty i zapieczętował. Na południe położył się do łóżka i już też więcej nie wstał. Strach mnie brał i zawołałem doktora. Opukał, omacał, zapisał coś i poszedł. A mój pan mnie zawołał, za rękę chwycił i mówił: Mnie już tam śmierć w oczy patrzy. Gdy umrę, weź te papiery (*rozwija chustkę*) i zanieś je panu Wolskiemu, a nikomu ich nie pokazuj, tylko jemu samemu. I jak mówił, tak się też stało. Dziś w nocy przy nim czuwałem, a koło pierwszej godziny podniósł się nagle, za serce chwycił i już go nie mogłem ocucić.

KOSTECKI.

Ten żal po występku z czystej spekulacyi jest trochę dziwny.

WOLSKI.

Listy rozwiążą zagadkę. Daj mi te papiery.

TURKIEWICZ. (*podaje wielką zapieczętowaną kopertę, w której znajduje się kilka arkuszy papieru*).

To ostatnia wola mojego pana.

WOLSKI (*rozdziera kopertę i czyta*).

Boże! (*czyta dalej. Wisłowski i Kostecki zaglądają przez ramię Wolskiego.*)

KOSTECKI.

To jakieś ciekawe dokumenty.

WISŁOWSKI.

To list z podpisem Wareckiego.

WOLSKI (*zwijając listy półgłosem*).

Wyrządziliśmy straszną krzywdę. (*głośno*) Turkiewicz! Gdyby pieniędzy na pogrzeb nie starczyło, to zgłosisz się do mnie. A teraz idź, zajmij się trumną i cmentarzem. O służbę się nie troszcz. U mnie ją znajdziesz.

TURKIEWICZ.

Bóg zapłać. (*idzie ku drzwiom, lecz zwraca się u progu*). A niechta o nieboszczyku ładnie napiszą w gazetach, bo to dobry był pan, bardzo dobry.

WOLSKI.

Dobrze, mój stary! Idź już. (*Turkiewicz wychodzi*).

Scena VI.

Wolski, Wisłowski, Kostecki.

WOLSKI.

Sprzedaż Karłowic to komedya ze strony Wareckich. Ruszczewski był podstawiony, Karłowice kupione symulacyjnie.

domo, niesłychane rozgoryczenie, wojnę prawdziwą z proboszczem, a w następstwie proces sztumski. „Gazeta Grudziądzka“ uważa już sam postulat przysięgi za bezprawie, nie podyktowane nawet ustawą majową, a mianem niesłychanego nadużycia piętnuje żądanie, aby Polacy w języku niemieckim składali przysięgę. Końcowy ustęp artykułu brzmi:

Jest to niesłychana dotąd rzecz w dziejach kościelnych naszej dzielnicy, jest to niebywałym gwałtem, zadanym już nietylko uczuciom narodowym, ale i religijnym! Bo jeżeli gdzie, to w sprawach religijnych powinna panować wszelka swoboda, jeżeli kiedy, to w modlitwie, w rozmowie z Stwórcą swoim powinno każdemu być dozwolonem przemawiać w tym języku, który najlepiej wyraża jego uczucia!

Nakaz biskupa warmińskiego, dotyczący odbierania przysięgi od nowowybranych członków dozoru kościelnego przysięgi i to w języku niemieckim, nie da się więc niczem a niczem usprawiedliwić, to też my potępiamy go jak najstanowczej i protestujemy już naprzód przeciwko możliwym dalszym tego rodzaju nadużyciom. Dziwnie, oj dziwnie się to czasy zmieniają!

Dawnemi czasy stawali biskupi zawsze po stronie uciśnionych i bronili ich, o ile to było w ich mocy, przed uciskiem, dziś łączą się z ciemiężcami i starają się wspólnie z nimi wydrzeć narodowi, który w boju za wiarę św. zawsze wszystkim przodował, a dziś jest słabym, uciśnionym, sponiewieranym — język jego ojczysty, ten ostatni skarb, który mu po utracie wolności pozostał.

Zdawałoby się, że obudziły się w naszem życiu kościelnem dawne krzyżackie tradycye. Oby one nie zaprowadziły tych, którzy je uprawiają, dokąd zaprowadziły Krzyżaków...

—

O wystawie poznańskiej zamieszcza „*Goniec Wielkopolski*“ (nr. 116) następujące szczegóły:

Na ogólną liczbę 670 wystawców przypada zaledwie 150 Polaków!

Jest to liczba niewielka; gdy sobie jednak rozważymy, że tylko około 370 wystawców zamieszkuje w Księstwie, a reszta 300 nie powinna „ritu“ mieć wcale prawa wystawiania, gdyż nie pochodzi „z prowincyi poznańskiej“, wtenczas kalkulujemy tak, że wystawa mogłaby była podnieść opinią o przemyśle polskim, gdyby się trzymano ściśle zakresu Księstwa. Wobec napływu firm niemieckich z cesarstwa, wnioskować musimy, iż forytowano tendencyjnie przemysł niemiecki na niekorzyść przemysłu polskiego.

Oto dowody:

Berlin dostarczył wystawców ca. 50, Wrocław 40, niemieckie prowincye 130.

W przeciwieństwie do tych danych, wystawia Polaków, mieszkających poza obrębem Księstwa tylko około 25, z których na Galicyą samą przypada ca. 15.

Przypatrzmy się teraz Poznaniowi:

Firm polskich poznańskich zgłosiło się ca. 80, niemieckich 130.

Księstwo natomiast dostarczyło:

Polaków wystawców ca. 60, Niemców 90.

Prócz tego reprezentowane będą na wystawie dość licznie Austrya, a następnie także Londyn, Sztokholm, i t. d.

I to się nazywa wystawą prowincyonalną!!

Nie łudźmy się zatem więcej i rezygnujmy ze współzawodniczenia na punkcie narodowościowym. Utoniemy na tej wystawie, gdyż na jednego Polaka przypada trzech obcoplemieńców.

Jeżeli się teraz kto zapyta: a jakże z równouprawnieniem językowem? — to mu na to odpowiedzieć musimy, iż Niemcy na Polaków względu mieć nie będą, i że każdemu wystawcy wolno wedle upodobania umieszczać napisy, rozdawać druki, oferty i t, p. polecenia.

—

Z powodu germanizacyjnych zakusów duchowieństwa, które pośrednio przyczyniły się do procesu sztumskiego, takie zamieszcza uwagi „*Orędownik*“ w nr. 114:

„Że rząd pruski po wydaniu znanych rozporządzeń szkolnych, także tych, które tyczą języka, w jakim ma być udzielana nauka religii, stara się i przez stosunki i wpływy Kościoła działać w duchu swej polityki językowej — to, jakkolwiek ta rzecz jest dla ludności polskiej bardzo bolesną — z stanowiska czysto pruskiego można jeszcze uważać jako naturalną konsekwencyą systemu pruskiego w obec żywiołu polskiego.

To wszystko ludność polska może ścierpieć i znieść, bo musi, a że musi i widzi z jednej strony niewzruszoną stałość, władzę i siłę u rządu pruskiego, z drugiej zaś strony, że się nawet nadzieją łudzić nie może, ażeby jakaś zmiana w tym systemie nastąpiła, więc szuka jakiegoś sposobu wyjścia i zarazem ratunku, i znajduje go w tem, że się urządza tak, aby narodowość swą — mimo to wszystko — zabezpieczyć. Dzieje się to wszystko w drodze cierpienia i cierpliwości, w drodze ciężkich strat moralnych i majątkowych, ale prawodawstwo i instytucye pruskie pozostawiają przy tem jeszcze pewną przestrzeń wolnego powietrza dla oddechu, gdzie *dusza polska nie czuje gwałtu.*

Ten stan Polaka od razu się jednak zmienić musi, gdy w jego sercu polskiem zrodzi się podejrzenie, że niektórzy księża, niektórzy biskupi w dziedzinie Kościoła: przy konfesyonale, na ambonie, przy chrztach i ślubach, na chórze zaczynają ograniczać jego język ojczysty. Rząd może jeszcze swój system uzasadniać jakąś wyższą polityką, władzą, wreszcie siłą; atoli przy księżach i biskupach nikt nie zrozumie, żeby ograniczanie języka ojczystego i nastawanie na parafian za to było koniecznie potrzebne do zbawienia dusz ludzkich. Gdzie się księża i biskupi tego dopuszczają, tam musi nastąpić krwawe zadraśnienie serc polskich, wprost serc ludzkich, tam się ukazuje *gwałt sumienia ludzkiego katolickiego;* tam już nie ma wolnego miejsca do oddechu, jaki nam jeszcze pozostawiają prawodawstwo i instytucye pruskie!

To jest ogromna różnica!

Tam po ludzku sądząc, ludność polska musi przychodzić do przekonania: że się dostaje między dwie siły, między rząd a księży i biskupów; — że księża i biskupi, którzy świadomie czy nieświadomie ograniczają swobodę używania języka polskiego, stają się de facto prawą ręką germanizacyi.

Ludność polska wyobrazi sobie jeszcze i wyrozumie zasadniczego germanizatora w ministrze pruskim, w prezesie rejencyjnym, w pow. inspektorze szkolnym, ale na widok germanizatora księdza i germanizatora biskupa musi się zatrząść w niej cała dusza. Tam musi nastąpić zaniepokojenie sumienia, zakłócenie umysłów. Poznański „Tageblatt“, jeżeli nie chce tego uznać, niech ma przynajmniej wyrozumienie na to, że ludność polska może sobie wyobrazić germanizacyą przez szkołę, ale nigdy przez Kościół“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Słowackie „*Narodnie Noviny*“ piszą pod nagłówkiem „*Szkandalosne zakazy*“:

„Znowu jeden zakaz wydany przez zwierzchność podrzędną, a tak bezmyślny, jakiego jeszcze nie było. W Rużomberku postanowiono odegrać teatr amatorski. Wszystko urządzono według przepisów, tekst sztuki przedłożono stolnikowi. Wtem niespodzianie przychodzi zakaz z urzędu podżupowego. Widocznie nasze zwierzchności zakazami tylko żyją. My na seryo zwracamy ministrowi uwagę na to postępowanie bezprawne i anarchistyczne, naszych zwierzchników. Czyżbyśmy zaszli już tak daleko, że żadne ustawy nie obowięzują, a każdy podżupan jest oligarchą obsolutnym? Sądzimy przecież, że minister nie jest poinformowany należycie o sztuczkach urzędników administracyjnych, albowiem musiałby im dawać dokładne informacye, względnie wymierzać kary, aby swem nierozumnem postępowaniem nie drażniło obywatelstwa już tak rozgoryczonego.

„Zakaz tłomaczy ów podżupan-basza tem, że w okolicy rozrzucono odezwę p. t. „*Hlas* (głos) *k' slovenskemu ľudu robotnickemu*“

KOSTECKI.

Ale gdzież dowody?

WOLSKI.

Oto są (*podaje mu listy*). To listy Wareckiego pisane w tej sprawie do niebożczyka. Tu zaś... (*rozwija inny papier*).

KOSTECKI.

To jakiś urzędowy dokument w rosyjskim języku.

WOLSKI.

Pismo to stwierdza, że Ruszczewski po bracie nie odziedziczył ani szeląga. Litewski Nabab umarł bez gotówki, a wioszczynę zapisał córce przybranej. Tu wreszcie (*rozwija inny papier*) oświadczenie Ruszczewskiego, wyjaśniające całą sprawę, pełne żalu i potępienia dla symulantów. W dopisku jest prośba o przedrukowanie tych dokumentów w Trybunie.

KOSTECKI.

Wyśmienicie! Nasza wygrana! (*oddaje listy Wolskiemu*).

WISŁOWSKI.

Zapóźno.

KOSTECKI.

Bynajmniej. W środę wybory, a dzisiaj piątek dopiero. Trybuna już pod prasą, ale jeszcze w świat nie wysłana. Zygmuncie! trzeba natychmiast w nadzwyczajnym dodatku ogłosić testament Ruszczewskiego, wszystkie dowody i nasze komentarze. Całej prowincyi roześlemy ten cenny dokument, w tysiącach egzemplarzy rozrzucimy go po okręgu naszym. Jutro całe Księstwo wiedzieć już będzie, co to za ptaszek ten hrabia Warecki, i nikt nie odważy się wrzucić do urny kartki z nazwiskiem handlarza. Komitet przeciwny nie znajdzie czasu, by innego kandydata poszukać, i chcąc nie chcąc wszyscy za Wisłowskim pójdą. Rozkazuj Zygmuncie! Sądzę, że dzisiaj wahać się nie będziesz.

WOLSKI.

Oczywiście! Te papiery to cios śmiertelny dla wroga.

KOSTECKI.

Ale ani chwili nie ma do stracenia. Siadaj Zygmuncie i pisz artykuł, — piękną przygrywkę do tego „Requiem“, które trzymasz w ręku. Zatrzymam drukarzy przy maszynach. Ty jak wiatr piszesz. Za pół godziny przyjdę po artykuł. (*Zwraca się ku drzwiom.*)

WISŁOWSKI.

Czekaj pan. Wieczorem wyjeżdżam do filii fabryki mojej i wrócę dopiero w środę, aby z rąk twoich, panie Zygmuncie, odebrać palmę zwycięztwa. Do widzenia w dzień tryumfu. (*podaje mu rękę.*)

KOSTECKI.

A pamiętaj, by każde słowo było piorunem. Uwij bicz z sarkazmu, pożycz żądła od osy, jadu od żmiji, potęgi od gromów i wichrów. Straszną być musi pieśń pogrzebowa nad mogiłą Wareckich.

WISŁOWSKI.

A schowaj pan dobrze te dokumenty do żelaznej szafy. To jedyne dowody nasze. Gdyby zginęły, nikt nam nie uwierzy. Pamiętaj! Do widzenia. (*Wychodzi z Kosteckim.*)

Scena VII.

Wolski (*sam*).

WOLSKI.

Nasze zwycięztwo. Nareszcie!... (*siada przy biurku i rozkłada papiery*). A ona? (*zamyśla się*) Co ona powie? Każdy grom tam wymierzony w jej serce uderzy... A! te łzy, ta boleść niema... (*chwila zadumy*). Zdradzić? Głupstwo, szalone głupstwo (*śmieje się przymusowo, chwyta za pióro i pisze. W drzwiach pokoju staje Marta. Wolski przerywa pisanie, i nie widząc żony odczytuje głośno ustęp skreślony:*) „Dokumenty zdrady“ (*przerywa czytanie*). Za blady tytuł! (*Przekreśla i pisze. Po chwili znów czyta:*) „Hańba Wareckich. W przededniu wyborów prezentujemy wyborcom dokument hańby tych patentowanych ojców narodu...“ (*Marta biegnie ku Wolskiemu i wydziera mu arkusz z ręki.*)

Scena VIII.

Wolski i Marta.

MARTA.

Co to jest?

WOLSKI.

A to ty... to nie należy do ciebie.

Niechże tu człowiek rozumny szuka jakiejkolwiek styczności pomiędzy spiskiem a teatrem amatorskim!

„Nasi przebiegli policyanci odbyli rewizyą drukarni p. Salvy w Rużomberku, posądzając go o wydrukowanie odezwy, choć pod odezwą była firma madziarskiej drukarni w Peszcie.

„Za tak głupiego nie można uważać pana podżupana rużomberskiego, ażeby upatrywał w agitacyi socyalistów madziarskich związek z naszym teatrem amatorskim. Skandaliczny zakaz można jedynie wytłomaczyć umyślnem nadużyciem władzy.

„W sprawie tej apelowano do wyższej instancyi i dla tego nie wypowiadamy całkowicie naszego zdania. Ale tu chodzi o powszechne dobro, o istotę prawno-politycznego ustroju naszego państwa.

„Zwracamy się do ministra z prośbą, aby uczynił coś takiego, coby w przyszłości wykluczało możliwość podobnych nadużyć a uniemożliwiało naruszanie wolności obywatelskiej.

„Na cóż nam wszystkie prawa, kiedy depce je nogami każdy urzędnik! Toż mogą takie zakazy uzasadniać w sposób jeszcze śmieszniejszy n. p. 5-go maja będzie miesiąc świecił, więc przedstawienie zabronione.

„Żądamy porządku, rozumu i sprawiedliwości w sprawach publicznych!“

* * *

„Srpski Glas“, wychodzący w Zadarze, w Dalmacyi pisze pod nagłówkiem *„Pazimo i radimo!“* (Rozważajmy i działajmy):

„Skonstatowaliśmy i widzimy to wszyscy, że w tej połowie monarchii, w której żyjemy, dzieją się rzeczy bardzo ważne, że następują zmiany, mające znaczenie niepoślednie.

My, Słowianie południowi winniśmy z nowym stanem rzeczy liczyć się skrupulatnie, kwestya zgody i połączenia Słowińców, Chorwatów i Serbów pod jeden sztandar stają się kwestyą aktualną bardziej niż dotąd.

„Chorwaci muszą zrzec się pretensyi do krajów i ludności serbskiej. Domagają się oni przyznania im praw narodowościowych, nazywania się Chorwatów Chorwatami, — aleć my tego samego od nich żądamy, aby nam pozwalali nazywać się Serbami i dali pokój agitacyi śród prastarych ziem serbskich, w Bośni i Hercegowinie.

„Ze Słowińcami w zatarg nie wchodzimy. Niechaj będą, jak są dotąd Słowińcami, ale nie możemy zgodzić się na to, gdy ich Chorwaci nazywają Chorwatami połanińskimi (planinskijema Hrvatima),

„Wiemy o tem dobrze, że porozumienie pomiędzy Madziarami i Serbami z łatwością mogłoby przyjść do skutku. Wówczas to Chorwaci znaleźliby się w położeniu bez wyjścia. Jako Słowianom szczerym zależy nam atoli w pierwszym rzędzie na porozumieniu z nimi. Tego porozumienia dziś nie ma, natomiast jest walka, wyczerpująca siły obydwóch narodów.

„Chorwaci i Serbowie mają przedstawicieli w sejmie zagrzebskim i budapeszteńskim, ale czyż ludzi tych można nazywać przedstawicielami naszymi. Są oni takimi Serbami i Chorwatami, jakich Madziarzy tylko sobie mogą życzyć.

„Nie łudzimy się, ażeby walka pomiędzy nami ustała. Niechaj ta walka trwa i dalej, bylebyśmy znaleźli program wspólny i pod wspólnym stanęli sztandarem do boju przeciw Madziarom i Niemcom. Taki program wspólny mógłby powstać z łatwością przy obopólnej chęci i dobrej wierze...“

* * *

Kołomyjska *„Ruskaja Rada“* pisze pod nagłówkiem: *„Pokrywżdenije* (pokrzywdzenie) *praw russkoeho naroda“*:

„My Rusini, choć tak spokojny i potulny naród, co wszystkie obowiązki wypełnia, sumiennie i bez przymusu, jesteśmy krzywdzeni przez niektóre organa rządowe i nie używamy w pełni tych praw, które posiadają inne narodowości.

„I pomimo to, że jeszcze nie zniesiono ustaw zasadniczych konstytucyi, które przyznają pełne równouprawnienie rusińskiemu narodowi, pomimo to, że każdy austryacki urzędnik jakiejkolwiek byłby branży, przysięgę składa na konstytucyą i wypełnienie ustaw, to przecież w praktyce ich się nie wypełnia.

„W Kołomyi wybudowano naprzeciw starostwa nowy gmach pocztowy, umieszczono na nim napisy w polskim i niemieckim języku a ruski opuszczono, choć do tego gmachu przeważnie chodzić będą Rusini. Gmach urzędu starostwa ma napisy polskie i ruskie, powinien był więc urzędowi pocztowemu posłużyć za przykład.

„Nie żądamy niczego, co jest niemożliwem, ani ustawami niedozwolonem, ale upominamy się o to tylko, co powinno być wykonanem i co należy się według prawa ruskiej narodowości...“

D. K.

BADANIA NAUKOWE.

Leczenie raka.

Ostatnie dzienniki podają sensacyjną wiadomość o raporcie, złożonym Akademii medycznej, z którego dowiadujemy się, iż na podstawie metody Pasteura, doktorzy Reclus i Terrier wyleczyli kilku chorych na raka. Tak więc dzięki tej metodzie, powstrzymane zostało szerzenie się krupu, róży, gorączki połogowej, obecnie zaś możemy mieć nadzieję, iż nieuleczalna dotychczas choroba raka zostanie usuniętą, a przynajmniej mniej groźną będzie. W notatce z ostatniego posiedzenia Akademii nauk czytamy: W d. 9 lutego 1895 r. dr. Reclus wyciął raka na nodze chorego. Wyciętą nabrzmiałość rozmiażdżył, dodając nieco wody, przefiltrował i zastrzyknął trzem zwierzętom (osłu i dwom psom). Zastrzyknięcie nie wywołało żadnego skutku na zoperowanych w ten sposób zwierzętach, z których puszczono krew dnia piątego, siódmego i piętnastego, dla otrzymania surowicy, jaką znów zastrzyknięto dwom chorym na raka. Dr. Terrier oświadcza, iż jedna z tych chorych była operowaną na raka w październiku 1894 roku. Lecz w lutym 1895 r. utworzył się jej nowy gruczoł w temże samem miejscu, co poprzednio. Początkowo nie był większy od orzecha laskowego. W marcu doszedł do wielkości pomarańczy. Zaczął ją wtedy leczyć za pomocą zastrzykiwania, od 12 marca, powtarzając dozy codziennie; 25 marca nabrzmienie zaczęło się zmniejszać i stopniowo rozeszło się prawie zupełnie, stan zdrowia chorej polepszył się, waga ciała zwiększyła.

Kuracyą drugiego chorego zajmował się dr. Reclus w szpitalu paryzkim Pitié. Cierpiał na raka w żołądku. Operacya chirurgiczna uznaną została za niemożebną. Dr. Reclus zastrzyknął mu surowicę d. 6 kwietnia, powtarzając następnie coraz wyższe dozy każdodziennie. Nabrzmienie poczęło się zmniejszać stopniowo i chory nabiera ciała przy coraz lepszym stanie zdrowia. Tak więc fakt odkrycia surowicy, leczącej chorobę raka, staje się przypuszczalną rzeczywistością. Pierwszą myśl zastosowania surowicy w cierpieniu raka, powziął prof. Karol Richet. Jeden z redaktorów dziennika „Eclair“, chciał uzyskać od niego objaśnienia w tym względzie, lecz w laboratoryum przyjął go tylko zastępca profesora, mówiąc: „Pan

---

MARTA (*czyta*).

„Hańba Wareckich“ (*przerywa czytanie*) Boże! co to wszystko znaczy?

WOLSKI (*po krótkiej chwili wahania*).

Tak czy tak... prędzej czy później się dowiesz... Ruszczewski umarł.

MARTA (*głucho*).

Umarł?

WOLSKI.

I mnie zrobił egzekutorem testamentu.

MARTA.

Nie rozumiem.

WOLSKI.

Sprawa Karłowic to symulacya. Winowajcą jest pan Karol, Ruszczewski maską i kozłem ofiarnym.

MARTA.

To niepodobno.

WOLSKI (*wskazuje na papiery*).

Mamy dowody... listy twego brata.

MARTA.

Co? Co ty mówisz?

WOLSKI.

Mianowany egzekutorem testamentu, muszę ogłosić dokumenty zdrady.

MARTA.

Ty tego nie uczynisz; ty tego nie możesz uczynić.

WOLSKI.

To moja powinność. Muszę!

MARTA.

Zygmuncie! to brat mój i ojciec.

WOLSKI.

Idź do twego pokoju. Artykuł za chwilę gotów być musi.

MARTA.

Nie! Czemu się pastwisz nademną? Boże! (*zanosi się kurczowym płaczem i pada na fotel.*)

WOLSKI.

Łzy twoje palą, ale inaczej być nie może. Niema innego wyjścia, — chyba nikczemność.

MARTA (*chwyta go za ręce i osuwa się przed nim na kolana*).

Zygmuncie! to krew moja.

WOLSKI (*cofa się gwałtownie*).

Idź! idź już. (*ostro*) Nie błagaj za nimi. Sztandar mój święty. Bronić go będę nawet przeciw tobie i nie opuszczę nigdy.

MARTA (*zrywa się i mówi podniesionym głosem*).

Nigdy? A ja? Czyż dla ciebie nie opuściłam domu, ojca i brata? Czyż przeciw światu całemu nie stanęłam z tobą? Słuchaj! Ja mam prawo żądać od ciebie poświęcenia, bo dla ciebie poświęciłam wszystko.

WOLSKI.

Żądasz za wiele, żądasz hańby mojej. Na barkach swoich dźwigam losy ludu. Jeżeli padnę, to lud ze mną padnie. Testament Ruszczewskiego to zwycięztwo całego stronnictwa. Spal go, a spłonie gmach cały, którego stróżem i kapłanem jestem.

MARTA.

O nic nie proszę, tylko o jedno: Milcz!

WOLSKI.

Napróżno wszystko! Nie mogę.

MARTA.

A przysięgi twoje?! Dla świstka papieru, dla urojonego honoru ty nóż mi wpychasz pod serce. Cóż mnie wasza polityka obchodzi? Wiem tylko, że mam ojca i brata, wiem, że mam męża, który mnie kochać powinien, wiem, że mnie dręczysz bez litości i pieścisz się prawie boleścią moją. Zabrałeś mi rodzinę, a dziś ją na pastwę motłochu oddajesz.

WOLSKI.

Dość już, dość (*przebiega gwałtownie scenę*). Nie mogę, nie mogę... (*bierze ją za rękę*). Idź! idź do twego pokoju.

MARTA.

Nie pójdę! Ty stoisz na straży stronnictwa, ja na straży krwi mojej. Nie pójdę! (*wydziera mu rękę, biegnie ku biurku i zabrawszy papiery zwraca się w stronę kominka, na którym ogień płonie*). Tam! (*Wolski rzuca się ku niej i wydziera jej z rąk papiery.*)

WOLSKI.

Szalona! co czynisz?

MARTA (*wskazując na płomień*).

Tam... tam... ogień nas pogodzi. Z tych dokumentów hańby popiół tylko zostanie. Wiatr go rozwieje i nikt się nie dowie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Richet ma zamiar unikania interviewów i pragnie swe spostrzeżenia komunikować wprost Akademii nauk. Surowicy przeciw rakowi nie mamy jeszcze dla chorych po za naszą kliniką i próbujemy jej zaledwie na niektórych, uważanych za nieuleczalnych. Dopiero, gdy zupełnie pewnymi będziemy obserwowanych kuracyi — surowicę przez nas stosowaną oddamy na użytek ogółu".



Stosunki literackie Rusi halickiej.

(*Dokończenie.*)

Poemat ten nietylko należy do najudatniejszych kreacyi Franki, ale jest jednym z najwybitniejszych utworów poezyi małoruskiej i godnie może zająć miejsce tuż obok najlepszych poematów Tarasa Szewczenki. Wszystkie typy bohaterów „Pańskich żartów" są wprost z życia wzięte i tylko staruszek-ksiądz jest poniekąd wyidealizowany.

Z innych utworów poetyckich Franki zasługują na uwagę: „Śmierć Kaina" (1889), stanowiąca poniekąd ciąg dalszy misteryi Byrona „Kain"; dalej „Król i Asceta", wolna przeróbka jednego epizodu „Markandei-Purany" i „Wędrówka Rusina z biedą", poemat satyryczny w guście podobnych utworów Heinego. Aczkolwiek wszystkie te utwory odznaczają się wielkiemi zaletami, jednakże głośną sławę zdobył Franko w Galicyi i na Ukrainie głównie jako autor licznych opowiadań; w tym zakresie nie ma prawie Franko rywalów pomiędzy współczesnymi pisarzami małoruskimi.

Pomiędzy opowiadaniami Franki na szczególną uwagę zasługują te, które malują nam życie robotników w borysławskich kopalniach. Już w r. 1877 zamieścił on w „Druhu" kilka obrazków tego rodzaju pod jednym ogólnym nagłówkiem „Borysław", w których jaskrawemi formami odmalował byt tych robotników z całą jego nędzą.

Widzimy tam, jak włościanie-rólnicy porzucają ziemię w nadziei wyższego zarobku dążą do kopalni, gdzie tracą zdrowie, demoralizują się i nareszcie giną w nierównej walce z nędzą, wyzyskiwani przez lichwiarzy. Życie tych samych robotników zostało przedstawione na szerszą skalę w dwóch najlepszych powieściach Franki: „Boa Constrictor" i „Borysław się śmieje". W pierwszej, zamieszczonej początkowo w „Hromadskim Druhu", „Dzwonie" i „Młocie" (1879), a następnie wydanej oddzielnie (1884) w nieco zmienionej postaci został przedstawiony ciekawy typ bogacza, właściciela źródeł nafty, który, dzięki swej energii, sprytowi i umiejętności wyzyskiwania bezradnych robotników, z żebraka staje się pierwszym kapitalistą borysławskim. Powieść ta jest przepełniona obrazkami, dosadnie malującymi stosunek właścicieli źródeł nafty i ich sług do robotników. Powieść „Borysław się śmieje" może być uważana za ciąg dalszy powieści poprzedniej, ponieważ występują w niej ciż sami bohaterowie co i w „Boa Constrictorze". Ale tu robotnicy nie są już ciemną, ponurą, bezradną masą, eksploatowaną przez każdego. Tu doprowadzeni do rozpaczy nędzą i wyzyskiem usiłują organizować się i łączyć, ażeby bronić swych praw. Powieść ta pod wieloma względami przypomina „Germinal" Zoli, aczkolwiek była wydana daleko wcześniej od słynnego utworu naturalisty franzuzkiego. Pod względem artystycznym powieść „Borysław się śmieje" znacznie ustępuje „Boa Constructorowi", gdyż postać głównego bohatera jest dość nienaturalna, a oprócz tego spotykamy w niej dużo rzeczy, psychologicznie wcale nie umotywowanych. Do utworów z życia robotników borysławskich należy opowiadanie „Jaś Zełepuha" („Zorja" 1887) — dzieje walki chłopa z żydem wyzyskiwaczem, walki, w której chłop traci nietylko całe swe mienie, ale i życie. Opowiadanie to sprawia bardzo silne wrażenie.

Jedyna powieść historyczna Franki „Zachar Berkut", napisana po części na podstawie danych kronikarskich, po części zaś podług podań ludowych, należy do najsłabszych jego utworów, aczkolwiek i w niej dadzą się spostrzedz rysy, zdradzające pędzel prawdziwego artysty, jak np. w opisie polowania na początku powieści i wogóle w opisach przyrody.

Za najlepsze utwory Franki należy uważać jego drobne opowiadania, wydane w zbiorku „W pocie czoła — Obrazki z życia ludu robocznego". Dzięki tym obrazkom, Franko mógłby zająć miejsce zaszczytne w każdej literaturze. Typy poniżonych, słabych, opuszczonych, nieszczęśliwych, shańbionych przedstawicieli najniższych warstw społecznych, odmalowane są tu z taką plastycznością, z takim realizmem, że czytelnik mimowoli musi zastanowić się nad losem tych chłopów, cyganów, aresztantów, robotników, żydów i kobiet upadłych, nad przyczyną ich cierpień i hańby, tkwiącą w wadliwości całego współczesnego ustroju społecznego. Franko wcale nie idealizuje swych bohaterów; odwrotnie, charakteryzuje ich nam ze wszystkiemi ich wadami i pomimo tego, umie wzbudzić w czytelnikach sympatye ku nim.

Zbiorek „W pocie czoła" zawiera ośmnaście małych obrazków i dwa większe opowiadania: „Na dnie" i „Manipulantka". Każdy z tych utworów dotyka jakiejś rany bolącej społeczeństwa współczesnego. Franko poświęca uwagę i kwestyom pedagogii, i stosunkom chlebodawców do najemników, i pracy kobiet i kwestyi agrarnej i przemysłu domowego. Widzimy u niego i dziecko, w którem bezduszna pedagogia usiłuje zagasić wszelką wiarę myśli samodzielnej, i chłopa, który ginie w walce z lichwiarzem, i ponure postacie aresztantów, i dziewczynę, która upada, nie znajdując uczciwych środków do życia... Ze wszystkich tych opowiadań najsilniejsze wrażenie sprawia studyum psychologiczne „Na dnie". W studyum tem, osnutem na tle życia więziennego, w jaskrawych barwach została przedstawiona nędza moralna wyrzutków społeczeństwa, nędza, wywołana z jednej strony przez straszną biedę materyalną i okropną ciemnotę, z drugiej zaś przez niemożliwe stosunki więzień galicyjskich.

W ostatnich czasach począł próbować Franko swych sił i na polu literatury dramatycznej, a jego dramat „Skradzione szczęście" cieszy się bardzo wielkiem powodzeniem na scenie ruskiej w Galicyi.

Artystycznej doskonałości większej części utworów Franki stoi na zawadzie brak wykończenia szczegółów, co tłomaczy się wielką różnostronnością jego twórczości i niezwłoczną płodnością. Jednakże pomimo to Franko ma bardzo doniosłe znaczenie dla literatury ruskiej głównie ze względu na to, że on pierwszy sprowadził literaturę tę w Galicyi na grunt realizmu, on pierwszy poruszył kwestye, interesujące całe społeczeństwo ruskie i wypowiada w swych utworach cały szereg typów ze wszystkich warstw tego społeczeństwa.

Pomiędzy pisarzami najbardziej pokrewnymi France ze względu na ich idee przewodnie, na szczególną uwagę zasługuje p. Natalja Kobryńska, z nazwiskiem której ściśle związana jest cała historya ruchu postępowego wśród Rusinów galicyjskich. Jak większość córek księży unickich, uczyła się Kobryńska w domu przy pomocy nauczycielek, pod kierunkiem ojca, znanego posła. Ale nauka jej była bardzo krótkotrwałą, ponieważ wydano ją za mąż, kiedy była jeszcze prawie dzieckiem. Po śmierci męża, który żył bardzo krótko, Kobryńska wzięła się do pracy nad swem wykształceniem i poczęła systematycznie studyować przyrode i historyę.

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M. W.**

(Ciąg dalszy.)

I jakby dla tego jedynie by nie odmówić parobkowi, który podsuwał mu garść słomy pod chrapy, gniady porywczo chwycił pęczek słomy z sanek, ale puścił ją natychmiast, jakby dla pokazania, że teraz nie czas myśleć o słomie, a wiatr rozsiał ją w mgnieniu oka i śniegiem zasypał.

— Teraz znak zrobić należy — ciągnął dalej Nikita i zwracając sanie przodem do wiatru, związał silnie hołoble, podniósł je w górę i przycisnął do przodu sani. — Gdyby nawet śnieg nas zasypał dobrzy ludzie zobaczą hołoble i odkopią. Takiej ostrożności starzy ludzie uczą.

Brechunow tymczasem, zasłaniając się połami rozwiązanego futra, pocierał zapałki jedną po drugiej o stalowe pudełko, ale ręce mu drżały i zapałki albo zgoła się nie zapalały, albo gasły natychmiast na wietrze. Nakoniec jedna z nich zapłonęła i oświeciła na mgnienie oka włos jego futra, rękę ze złotym pierścieniem na zgiętym palcu wskazującym, wysuwającą się z pod derki, a śniegiem zasypaną słomę i zapaliła papieros. Brechunow zaciągnął się parę razy dymem, wypuszczając go przez wąsy, chciał jeszcze raz pociągnąć, ale wiatr go uprzedził, porwał tytoń z ogniem i uniósł tam, gdzie wpierw słomę.

Ale i tych kilka łyków połkniętego dymu wprawiły go w lepszy humor.

— A no, mamy nocować, to i nocujmy — oświadczył energicznie, a widząc podniesione hołoble, postanowił uczynić sygnał bardziej jeszcze bijącym w oczy, a zarazem Nikicie pokazać, jak się to robi. — Zobaczysz, zaraz flagę dodam — mówił, podnosząc chustkę, którą podwiązywał kołnierz i którą cisnął był na sanie. I zaraz zdjął rękawiczki, wspiął się na palce i mocnym węzłem przymocował chustkę do rzemieni, łączących końce hołobli.

Chustka natychmiast wściekle szarpać się zaczęła, już to przylegając do hołobli, już oddymając się, wydłużając i klaszcząc na wietrze.

— Alboż nie zręcznie? — pochwalił się, przypatrując z zadowoleniem swemu dziełu, poczem wrócił do sani. — Razem cieplejby nam było niezawodnie, ale dla dwóch zabraknie tu miejsca — dodał.

— Ja sobie miejsce znajdę — odparł Nikita — wpierw jednak konia muszę okryć, bo spotniał, serdeczny. Puśćcie, gospodarzu, poprosił zbliżając się do sani i wyciągając z pod Brechunowa derkę, którą złożył we dwoje i zdjąwszy uprząż, zarzucił na gniadosza.

— Tak cieplej ci będzie choć trochę, przyjacielu — mówił nakładając znowu na derkę ciężką uprząż.

— Płachta ze słomy również wam niepotrzebna, a zarazem i słomy odrobinę mi dajcie — mówił dalej, podchodząc do sanek.

I wyciągnąwszy jedno i drugie z pod Brechunowa, wykopał sobie jamę w śniegu za saniami, wysłał ją słomą i nacisnąwszy czapkę na uszy, usiadł na słomie, owinięty w kaftan przykryty szmatą i przytulił się do łubianych sani, które go zasłoniły na razie od śniegu i wiatru.

Brechunow lekceważąco kiwał głową, patrząc na to, co robił Nikita, czuł bowiem zawsze głęboką pogardę dla chłopskiej ciemnoty, a potem sam zaczął się przysposabiać na noc.

Wyrównał pozostałą w saniach słomę, podkładając najgrubszą jej warstwę sobie pod bok i zasunąwszy ręce w rękawy, umieścił głowę w przednim kącie sani w ten sposób, aby jak najmniej być wystawionym na śnieg i wiatr. Spać nie chciało mu się wcale, leżał więc i rozmyślał, o tem, co było jedynym celem, treścią, szczęściem i chlubą jego życia: o tem ile to on już zgromadził pieniędzy, oraz ile jeszcze w przyszłości zgromadzić potrafi: ile inni, znani

Zapoznała się z Darwinem, Huxleyem, Büchnerem, Lubbockem, Draperem, Renanem] i t d. Dziełko St. Milla „Poddaństwo kobiet“ sprawia na niej bardzo silne wrażenie i pobudza ją do studyowania kwestyi kobiecej. Przyjechawszy do Wiednia, gdzie przebywał jej ojciec podczas sesyi parlamentarnej, a dwóch braci studyowało medycynę, Kobryńska poczęła bywać w różnych kółkach studenckich i brać udział w gorących politycznych i literackich sporach młodzieży.

Po powrocie do Galicyi, Kobryńska założyła w r. 1874 w Stanisławowie „Towarzystwo kobiet ruskich“, którego zadaniem było przyczyniać się do podniesienia poziomu umysłowego kobiet za pomocą rozpowszechniania wśród nich książek. Jednakże Kobryńska znalazła bardzo mało jej współczujących; większość członków odrazu zaoponowało przeciwko takiemu charakterowi towarzystwa i postanowiło zajmować się wyłącznie filantropią. Kiedy Kobryńska próbowała protestować przeciwko temu, dowodząc, że kobiety ruskie przedewszystkiem powinny starać się zdobyć sobie jakie takie wykształcenie, członkowie towarzystwa kupili za pieniądze przeznaczone na książki złoty kielich dla biskupa Stanisławowskiego Pełesza.

W r. 1887 Kobryńska do współki ze znaną pisarką ukraińską Ołeną Pczilką wydaje „Pierwszy Wianek“ — zbiór utworów poetyckich i artykułów naukowych, napisanych wyłącznie przez kobiety: galicyanki i ukrainki. Najlepsze artykuły w tym zbiorze wyszły z pod pióra Kobryńskiej. Poznajamia ona czytelników ze współczesnym ruchem kobiecym w Europie Zachodniej i w Ameryce, z rolą kobiet w społeczeństwie, z położeniem Rusinów wszystkich warstw społecznych i t. d. Oprócz tego w „Pierwszym Wianku“ zostały zamieszczone dwa jej opowiadania „Pani Szumińska“ i „Pan sędzia“.

Działalność Kobryńskiej nie ograniczyła się na wydaniu zbioru i drukowaniu opowiadań z „Zorji“, gdzie poczęła pracować już w r. 1874. W r. 1890 wskutek jej energicznej agitacyi Rusinki wysyłają do parlamentu petycyą o dopuszczenie kobiet do słuchania wykładów uniwersyteckich. W roku następnym Kobryńska zorganizowała w Stryju pierwszy wiec kobiecy, a w r. 1892 na wiecu kobiet polskich wygłosiła referat, który zwrócił na siebie powszechną uwagę. Dowodziła ona w nim potrzeby założenia w Galicyi gimnazyum dla kobiet. W r. 1894 pod jej redakcyą ukazuje się drugi zeszyt zbioru prac kobiecych.

Jako utalentowana beletrystka Kobryńska zajmuje jedno z pierwszych miejsc w literaturze galicyjsko-małoruskiej. Utwory jej poczęły się ukazywać od r. 1884, kiedy „Zorja“ wydrukowała jej opowiadanie „Dla kawałka chleba“, w którym przedstawiony został smutny los dziewczyny, nie mogącej wyjść za ukochanego człowieka, a zmuszonej oddać rękę człowiekowi, którego wcale nie kocha, jedynie z tego powodu, że nie umie zapewnić sobie sama kawałka chleba. Do najlepszych utworów Kobryńskiej należą: „Pani Szumińska“ i „Wyborca“. W pierwszym odmalowała ona kobietę, która spędziła całe życie w czterech ścianach swego domu i której wszystkie plany obracają się w niwecz pod wpływem ducha czasu. W drugim ukazała, jak wpływają na ciemnego chłopa galicyjskiego urządzenia konstytucyjne.

Wszystkie utwory Kobryńskiej są napisane z wielkim talentem; świadczą one o dokładnej znajomości z tą sferą, którą maluje i zdradzają wielkie zdolności obserwacyjne.

Leon Wasilewski.

Poetka pracy.

Trzy lata temu ukazał się we Włoszech pod tytułem „Fatalita“ tomik poezyi, które obudziły ogólne zajęcie z powodu swej odrębności i głębokich myśli. Zajęcie to spotęgowało się jeszcze, gdy się dowiedziano, że autorką tych poważnych, głęboko odczutych pieśni jest biedna, słabowita, dwudziestodwuletnia wiejska nauczycielka, udzielająca mniej więcej ośmdziesięciu hałaśliwym dzieciom początków pisania i czytania. Miejscem jej zamieszkania była *Motta Visconti*, cichy, odległy zakątek nad rzeczką *Tessin*. Zdanie, iż praca jest mistrzynią prawdziwie wielkich i szlachetnych ludzi znajduje w tym wypadku świetne zastosowanie.

Ada Negri urodziła się dnia 3 lutego 1870 roku. Matka jej była biedna wyrobnica, pracująca za nędznem wynagrodzeniem w przędzalni wełny, to też wykształcenie, jakie dała swej córce, było okupione największem poświęceniem i ofiarami. Kto czyta ogniste wiersze lombardzkiej poetki, sądzi zapewne, iż zna ona i widziała to wszystko, o czem pisze z taką przekonywającą prawdą. Omyli się. Nie widziała nigdy ani morza, ani gór niebotycznych, nie znała ani teatru, ani większości nowych dzieł i powieści; jedynie samotność i nieszczęście były jej dobrze znane. Mieszkanie jej w Motta Visconti było bardzo ubogie; okna bez szyb, zalepione papierem, skąpo oświetlały nędzną izdebkę, w której najpiękniejszym sprzętem była skrzynka z książkami, zastępująca kanapę. Biednej wiejskiej nauczycielce nawet piękności ojczystego kraju były nieznane, gdyż jedyną jej rozrywką była coroczna wędrówka do Lodi, gdzie u matki przepędzała letnie wakacye. Troska stała u jej kolebki i była jej w życiu wierną towarzyszką, lecz nie potrafiła zgnębić jej geniuszu i przytępić jasnego umysłu.

Ponieważ ojciec poetki młodo umarł, więc matka i córka rychło musiały stanąć do walki o byt. To też pierwsze smutne wrażenia lat dziecięcych zbyt poważnie nastroiły młodą duszę i obudziły w sercu zrozumienie i współczucie dla cierpiącej i walczącej ludzkości, dla wszystkich, co żyjąc w niedostatku, nie tracą nadziei.

Adę Negri zaliczyć należy do rzędu wysoko uzdolnionych kobiet, które usiłują rozwiązać problemata istnienia i kwestye socyalne, zajmujące nas wszystkich. Gdy nieszczęście przestępuje próg jej nędznej izdebki, przyjmuje je bez trwogi z podniesionem czołem. „Witaj, ponure bóstwo“, woła, „jesteś wobec mnie bezsilnem!“

Cudze cierpienie porusza ją do łez i skarg porywających, które znajdują oddźwięk w każdem gorąco czującem sercu. Steryotypowych żalów erotycznych nie znajdziesz w jej pieśniach, nie ma tam wzmianki o tęskniącej i umierającej miłości. W kilku swych poezyach, pięknych prostotą, wyraża przywiązanie i wdzięczność dla matki, której stara się wynagrodzić przykry, znoszony dla niej niedostatek. We wszystkich jej pieśniach przebija silna dusza, gorąca ufność i nadzieja, głębokie współczucie dla pracujących w niedostatku i gorzka nienawiść do próżnujących bogaczy.

Ada Negri to natchniona poetka pracy, uwielbia i sławi odwagę, co niczem nie pozwoli się zgnębić, lecz śmiało i z poczuciem siły staje do walki z losem. Wiersz „Czyś ty pracował“ maluje najlepiej jej sposób myślenia. Młodzieńca, co nieśmiało wynurza jej swą miłość, pyta: „Czyś ty pracował? Czy wiesz, co to cierpienie? Czy znasz trwogę, walki i burze w życiu człowieka pracy i czynu? Czy wiesz, co to noce bezsenne, w których się bez chwili wytchnienia pracuje i tworzy dzieła? Czyś ty pracował? I odtrąca od siebie słabego, bez woli, prawdziwe dziecię wieku, każe wrócić czcicielowi złotego cielca do próżniaczego życia, do kart, balów i hulanek. Myśl przewodnia — apoteoza pracy — powtarza się w wielu jej poezyach z coraz innemi waryantami.

Genialna poetka przebiła się przez głód, nędzę i troski i potrafiła wywalczyć sobie byt dostatni. Niedawno została powołaną na nauczycielkę literatury przy wyższem seminaryum w Medyolanie, gdzie żyje z matką w gronie przyjaciół, pokrewnych jej duchem i umysłem. W dowód uznania dla jej poetyckiej działalności wyznaczyła jej rada miasta Florencyi honorową pensyą, którą w tej samej kwocie pobierała przed nią zmarła włoska poetka Giannini Milli. Obecnie wydaje Ada Negri drugie

---

mu ludzie, zgromadzili i mają pieniędzy, w jaki sposób zdołali tyle uzbierać i dziś jeszcze zbierać pieniędzy i jak on sam, podobnie jak inni, może jeszcze uzbierać mnóstwo pieniędzy.

— Dąb pójdzie na płozy. Zręby sprzedam osobno. Drew też będę miał przynajmniej ze trzydzieści sążni na dziesięcinie*) — oceniał w myśli las, który teraz właśnie jechał kupować. — Dziesięciu tysięcy pomimo to nie dam, a najwyżej ośm i to pod warunkiem, aby polany wyliczyć. Geometrę zjednam sobie jaką setką, a może i 150 rubli mu wetknę, a ten mi z pięć dziesięcin polan namierzy. Za ośm odda z pewnością. Trzy tysiące odliczę mu zaraz, na pierwszy ząb, a zmięknie natychmiast — myślał dalej, dotykając ramieniem kieszeni, w której miał pugilares. — I w jaki sposób zbłądzić mogliśmy na zakręcie, Bóg jeden raczy wiedzieć. Powinienby tu być zaraz las i leśniczówka, powinienbym słyszeć szczekanie psów. Ale te przeklęte psy nie szczekają wówczas, gdy trzeba. — Odwinął kołnierz i zaczął pilnie przysłuchiwać i rozglądać, ale dostrzegł jedynie czerniejącą w ciemności głowę gniadosza i jego grzbiet z podnoszącą się od wiatru derką; o słuch jego odbijało się również tylko wycie wiatru, furczenie i klaskanie chustki między hołoblami, oraz uderzanie śniega o łuby sani.

Brechunow otulił się ponownie.

— Gdybym był wiedział — snuł dalej wątek myśli — zostałbym w Gryszkinie na noc. Mniejsza zresztą o zwłokę. Dojedziemy jutro. W taką zawieję i tamci nie pojadą.

W tej chwili przypomniał sobie, że jutro miał otrzymać od rzeźnika pieniądze za skopy. — Majster rzeźnicki sam przyjechać zamierzał, tymczasem nie zastanie mnie w domu, a żona nawet pieniędzy odebrać nie potrafi. Żadnego zgoła wykształcenia nie posiada, z ludźmi obejść się nie umie — myślał dalej przypominając sobie, że nie umiała właściwie zachować się w obecności stanowego*), który wczorajszy wieczór świąteczny spędził w jego domu.

— Wiadomo kobieta: gdzie i czego nauczyć się mogła? Czemże był dom nasz za życia rodziców? Obejściem zamożnego włościanina, który posiada chałupę i dom zajezdny całego majątku. A ja do czego dojść potrafiłem w ciągu lat piętnastu? Sklep, dwa szynki, młyn, skład zboża, a nawet dwa majątki w dzierżawie i dom ze śpichlerzem pod żelaznym dachem — wyliczał z wzrastającą pychą. — Inaczej to wygląda niż za ojcowskiej gospodarki! I czyjeż to imię rozbrzmiewa teraz najgłośniej w całej okolicy? Imię Brechunowa.

— A dla czego? Dla tego, że o interesy dbać umiem, zabiegów nie szczędzę, że inaczej postępuję niż próżniacy, lub ci, którym tylko głupstwa w głowie. Nocy nawet nie dośpię. Zamieć czy pogoda na dworze, jadę, jeżeli tego potrzeba wymaga. Cóż dziwnego, że handel idzie? Pieniądze na drodze nie rosną, jak grzyby. O nie, dobrze głowy sobie nałamać trzeba, do potu się napracować. Myślą ludzie, że dość mieć szczęście, aby majątek zrobić. Gdzie tam! Mironowie naprzykład na milionach teraz siedzą. A dla czego? Bo pracowali, a Bóg im dopomagał. I ja, byle tylko Bóg zdrowia użyczył...

I myśl, że z biegiem czasu i on stać się może takim milionerem, jak Mironow, który z niczego się dorobił, tak wzburzyła go do głębi, że wieleby dał za to, aby módz z kimś porozmawiać w tej chwili. Ale słuchacza nie było tu żadnego... Gdybyż to choć do Goriaczkina dojechać, rozmawiałby tam z dziedzicem i oczy mu zamydlał.

— Hej, jak dmie! Zasypie tak, że jutro wydobyć się ztąd nie będziemy mogli — myślał wsłuchując się w poświsty wichru, który dął w przód sani, aż wyginając je siłą nacisku i śniegiem smagał łuby.

— Źle zrobiłem, żem Nikity usłuchał — snuł dalej wątek rozmyślań. — Trzeba było jechać, a z pewnością dotarlibyśmy dokądkolwiek, choćby z powrotem do tego samego

*) Dziesięcina równa się dwom morgom naszym. (Przyp. tłum.)

*) Stanowy — urzędnik pełniący takie mniej więcej funkcye, jak u nas starosta. (Przyp. tłum.)

swe dzieło, i spodziewać się należy, że będzie miało równie świetne powodzenie, jak pierwszy jej zbiór poezyi, które wcale udatnie przełożyła na język niemiecki Jadwiga Jahn.

E. B.



ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ze Szląska Polskiego.

Misya w Opolu. — Krzywdząca Szląsk nieznajomość jego rzeczy ze strony pisma polskiego. — Lekcya.

Od 1go do 10go maja zapowiedziana misya w Opolu dla polskiej, a od 10go do 20 b. m. dla niemieckiej ludności, wykazała dokładnie, na kim tu katolicyzm się opiera. Tłumy ludu zalegały ulice i place, a kościół w formalnem trzymały obleżeniu. Pięciu OO. Redemptorystów, pomiędzy nimi 3 rodowitych Szlązaków, z swym przeorem ks. Łubieńskim na czele, obok 3 kapelanów miejscowych i administratora parafii ks. Wrzodka, od rana do nocy siedziało po konfesyonałach, a tłumy całe odchodziły do domu, nie mogąc dla braku miejsca uczynić zadość swym potrzebom duchowym. Powiadają, że i w tych religijnych ćwiczeniach nie zabrakło polityki. Pozostanie bowiem rzeczą niewytłomaczoną, dla czego żaden z okolicznych księży nie przyszedł w pomoc, lub czemu czas trwania misyi dla polskiej i niemieckiej ludności na niekorzyść Polaków do równych części naznaczono mimo liczebnej nierówności.

Jak niegrzecznie wyzyskał ks. administrator swoje prawo czy bezprawie gospodarza domu, niech wystarczy, że przeor misyonarzy, ks. Łubieński, danego pewnemu polskiemu księgarzowi przyrzeczenia, że jemu zleci rozsprzedaż książek misyjnych, własności OO. Misyonarzy, dotrzymać nie mógł, ponieważ ks. administrator uznał za stósowne, obdarzyć tym interesem protegowanego przez siebie Niemca. Nie ulega wątpliwości, że i pod wielu innemi względami ponastawiano przeszkód niemało, aby zapobiedz zbliżeniu się OO. Misyonarzy do ludu polskiego. Lud milczy, nie chcąc się swoim duszpasterzom narazić, lecz czuje głęboko sobie i OO. Misyonarzom wyrządzone krzywdy.

Jedno z poważniejszych ilustrowanych pism warszawskich donosząc o śmierci śp. ks. Damrotha (Czesława Lubińskiego) poucza swych czytelników, że zmarły pisywał wiersze w gwarze szląskiej. Trudno tu przypuszczać złą wolę, a jeszcze trudniej zrozumieć nieznajomość przedmiotu ze strony redakcyi, fałszującą historyę literatury w tak bolesny dla Szląska sposób. Autor krzywdzącej nas notatki, widocznie więcej poinformowany o wojnie chińsko-japońskiej, niż o Szląsku polskim, poezyi Czesława Lubińskiego zaiste nie widział. Bo wszakże żadna z gorzko nienawidzących nas gazet niemieckich tak obelżywie z naszym poetą się nie obeszła; a i warszawski „foksal“ może się wiele od szląskiej „żeleźnicy“ nauczyć.

Na koniec anegdota, — ale prawdziwa. Pewnemu lekarzowi niemcowi, dla którego język polski obcym był zupełnie, przetłomaczyli przyjaciele wyrazy: „Oeffnen Sie den Mund“ na: „otwórz pysk“. Korzystając z lekcyi kazał ów lekarz swym pacyentom sumiennie „pyski otwierać“, co mu niektórzy bardzo za złe wzięli, opuszczając raz na zawsze niedelikatnego Eskulapa. Wychodząca w Gliwicach „Oberschl. Volksstimme“. donosząc o tem, zaznacza z uznania godną otwartością, że nieznajomość polskiego języka w tutejszych obwodach może pozbawić niektóre osoby chleba. A więc: „d i s c e p u e r, f a c i a m t e m o ś c i p a n i e.“

Chim.

KRONIKA GALICYJSKA.

(Emigracya włościan. — Rozłam wśród socjalistów. — Działalność „Kółek rolniczych“. — Muzeum Matejki. Subwencja dla opery).

Coraz więcej zaczynamy się zajmować ruchem emigracyjnym włościan. Towarzystwo św. Rafała, założone we Lwowie w celu regulowania tego ruchu i udzielania opieki emigrantom, wyekspedjowało w pierwszych dniach kwietnia pierwszą ich serję. Czytaliśmy *ex re* tego bardzo czułe artykuliki dziennikarskie. Podnoszono serdeczne i rozumne słowa, wypowiadane przez członków Towarzystwa św. Rafała, a objaśniające wychodźców o tem, co ich czeka poza morzami, i wzywające je do pielęgnowania uczuć religijnych i narodowych. Druga wyprawa ma wyruszyć ze Lwowa za dni kilka, a jak notują sprawozdawcy dziennikarscy, napływ kandydatów do emigracyi jest ogromny. Wszyscy oni niezadługo zostaną mieszkańcami Brazylii, gdyż Towarzystwo św. Rafała uznało stosunki tego kraju za najlepiej odpowiadające potrzebom i wymaganiom włościan galicyjskich. Innego zdania jest dr. Oleskow, który w jednym z dzienników ruskich uważa klimat i warunki ekonomiczne Brazylii za niesprzyjające naszemu wychodctwu i radzi ruch emigracyjny skierować raczej do Kanady, gdzie rząd wydziela każdemu z osadników bezpłatnie 115 morgów gruntu. Jednocześnie niejaki p. Brojnowski, mieszkający od lat 30-tu w Australji, zgłosił się się z propozycją osiedlania włościan galicyjskich w tej najmłodszej części świata. Zobowiązuje on się pokryć koszta podróży każdego emigranta, każdej rodzinie dać po 6 akrów ziemi i po 5 szylingów tygodniowo. Zapewnia dalej, iż każdy robotnik jeść będzie trzy razy dziennie mięso, a po 5-ciu latach grunt mu przeznaczony przejdzie na jego własność, będzie więc mógł na nim pozostać, lub też go sprzedać i powrócić do kraju.

Przyznam się, że te rozmaite projekty i cała opieka nad emigrantami budzą we mnie niejakie podejrzenie, nie co do zamiarów i dobrych chęci, ale co do wartości środków wybranych. Naprzód nigdy nie przemawiało do mnie twierdzenie, że emigracya może wywrzeć nawet wpływ dodatni na stosunki krajowe. Obrońcy tego zdania przytaczają, iż do okolic, nawiedzonych ruchem emigracjnym, płyną wciąż pieniądze z Ameryki, przez co wzrasta dobrobyt, że wielu włościanom dobrze dzieje się na emigracyi i że powracają do kraju z funduszem zaoszczędzonym. Faktom tym nie zaprzeczam, ale wolałbym zamiast przykładów i ogólników zobaczyć dokładną statystykę, a mam to przekonanie, iż z cyfr przez nią podanych nie odnieślibyśmy zadowolenia. Każdy wyjeżdzający jak na włościanina jest człowiekiem dosyć zasobnym, bo musi przecież mieć pieniądze na daleką podróż dla siebie, a często dla całej rodziny, i zazwyczaj tak się oblicza, aby je miał i na pierwsze potrzeby zagospodarowania się. Nasuwa się więc naprzód pytanie, czy pieniądze, nadsyłane z Ameryki, mogą zrównoważyć ilość wywiezionych z kraju. Nie można następnie zapomnieć, iż warstwa emigrująca składa się przeważnie z ludzi zdrowych i młodych, a więc z sił przedstawiających dla kraju kapitał bardzo cenny. Tylko statystyka mogłaby nam znowu wyjaśnić, ilu z tych emigrantów dochodzi do dobrobytu na obcej ziemi, a ilu ginie w zapasach o kawałek chleba. Statystyka wreszcie wykazałaby, jaki procent z nich powraca do kraju, a nie potrzeba być zapewne pesymistą, sądząc, iż co najwyżej dziesiąta część oddycha napowrót po latach ojczystem powietrzem. I dla tego dopóki mnie nie przekonają cyfry, będę wierzył, iż emigracya należy do klęsk krajowych.

A tak zapatrując się, nie mogę w konsekwencji wierzyć bardzo i w dobroczynny wpływ ujęcia, uregulowania ruchu emigracyjnego. Przedtem włościanin był wprawdzie wyzyskiwany przez ajentów, ale napotykał tyle przeszkód, że z tru-

---

Gryszkina, gdzie moglibyśmy przenocować u Tarasa. A teraz siedź tu całą noc. Ale o czemże to myślałem przed chwilą? Ha, o tem, że Bóg wynagradza pracę, nie zaś mazgajstwo, próżniactwo lub głupotę. Eh, papierosa sobie przynajmniej zapalę.

I znowu usiadł, wydobył papierośnicę, położył się na brzuchu, osłaniając ogień połą kożucha, ale wiatr wcisnąć się potrafił i gasił jedną zapałkę po drugiej. Po długich dopiero usiłowaniach udało mu się papierosa zapalić i to, że postawił nakoniec na swojem, niezmiernie go ucieszyło. I chociaż papierosa palił raczej wiatr, niż on, udało się i jemu atoli parę razy zaciągnąć, co znowu go rozweseliło. Osunął się po raz drugi w głąb sani, owinął, puścił ponownie wodze wspomnieniom i marzeniom i zdrzemnął się.

W tem coś go jakby trąciło, budząc nagle. Czy to gniadosz słomę wyszarpnął z pod niego, czy w nim samym wewnątrz coś drgnęło, dość, że się przebudził, a serce tak silnie i szybko uderzać mu zaczęło w piersi, aż sądził na razie, że to sanie poruszają się pod nim. Podniósł powieki. Dokoła nic się nie zmieniło, tylko ciemność zdawała się przezroczystszą. — „Świta — pomyślał — do rana zapewne już niedaleko“. — Ale przypomniał sobie natychmiast, że jasność ta płynęła od wschodzącego księżyca. Uniósł się cokolwiek i najpierw konia obejrzał. Gniadosz stał wciąż tyłem zwrócony do wiatru i drżał na całem ciele. Śniegiem okryta derka podwinęła się z jednej strony, uprząż zsunęła się na bok, a biała od śniegu głowa z powiewającą grzywą i zwichrzonym czubem, wyraźniej się teraz rysowała. Brechunow przegiął się z kolei w tył i spojrzał po za sanie. Nikita siedział wciąż w tej samej, co uprzednio pozie, a płachta, którą się okrywał, i nogi jego niknęły pod grubą warstwą śniegu. „Byle tylko nie zamarzł chłop; ubranie ma na sobie liche. Będą mię jeszcze do odpowiedzialności pociągać z jego powodu. Zmęczył się nadto tą bieganiną, a kapitał sił i zdrowia w nim niewielki — zafrasował się Brechunow i miał chętkę ściągnąć z gniadosza derkę i okryć nią Nikitę, ale zimno wydało mu się zbyt przejmujące, aby poruszać się i wstawać, a zresztą obawiał się, że koń zamarznie.

— I po co mi było brać go ze sobą? A wszystkiemu ona winna — mruknął Brechunow, mając na myśli niemiłą sobie żonę i osunął się na dawne miejsce ku przodowi sani. — Zdarzyło się jednak memu stryjkowi przesiedzieć pewnego razu całą noc pod śniegiem i nic mu się nie stało. — Ale Sebastjana — przemknął mu przez myśl inny przykład — odgrzebano wówczas, gdy już nie żył, gdy cały zlodowaciał, jak cielsko ubitego, zamrożonego zwierza.

— Gdybym pozostał w Gryszkinie, miałbym teraz spokój — myślał. — I owinąwszy się starannie, aby ciepło, jakie daje futro, nigdzie nie ginęło nadaremnie, lecz grzało go w szyję, kolana i stopy, Brechunow zamknął oczy, siląc się zasnąć. Ale wszelkie usiłowania nie odniosły pożądanego skutku, przeciwnie czuł się zupełnie rzeźwym i ożywionym. Więc znowu zaczął rachować zyski i kwoty, jakie mu byli winni rozmaici ludzie, znowu chwalił się sam przed sobą i cieszył swojem materyalnem położeniem, ale wątek rozmyślań raz wraz przerywało uczucie trwogi lub niezadowolenia na siebie, że nie został na noc w Gryszkinie. Kilkakrotnie przewracał się z boku na bok, kładł się coraz inaczej, starając się znaleść dogodniejsze i lepiej od wiatru osłonięte miejsce, ale żadne nie wydawało się mu dogodne i znowu zmieniał pozycję, zamykał oczy i przycichał. Ale już to skurczone nogi w wysokich walonach zaczynały sztywnieć, już wiatr z którejkolwiek strony podwiewał, i przeleżawszy chwilę znowu zaczynał myśleć z gniewem na samego siebie, jak spokojnie mógłby teraz zasypiać w ciepłej izbie w Gryszkinie i znowu podnosił się, kręcił, otulał i znowu kładł się w saniach.

Naraz wydało mu się, że słyszy dalekie pianie kogutów. Ucieszył się tem niezmiernie, odwinął kołnierz i zaczął pilnie się wsłuchiwać, ale pomimo całego wytężenia nic nie słyszał prócz wycia wiatru i uderzeń śniegu, bijącego w sanie. Nikita jak siadł z wieczora, tak siedział bez ruchu, nie odpowiadając nawet swemu panu, który dwukrotnie do niego się zwracał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dnością mu przychodziło opuszczać kraj rodzinny. Dziś nietylko tych przeszkód nie ma, ale owszem ma poniekąd zachętę, bo już samo istnienie otwartego, dozwolonego przez władzę biura emigracyjnego nasuwa chęć do emigracyi niejednemu z takich, coby może o niej nie myśleli. Zdaje mi się, że cała opieka powinna się ograniczać na przychodzeniu w pomoc emigrantom przy wyjeździe w portach europejskich i na miejscu ich nowego za oceanem pobytu. Zdaje mi się również, że powinno raczej w kraju powstać Towarzystwo dla utrudniania emigracji, do czego najlepiej służyłaby praca około podniesienia ekonomicznego tych okolic, w których ruch emigracyjny szersze przybrał rozmiary. Czesi przystępują obecnie do stworzenia olbrzymiej instytucji, która za pomocą niewielkich wkładek (zdaje mi się 20 złr.) ma się starać o rozwój narodowego przemysłu fabrycznego. Niech u nas powstaną takie ogniska przemysłu, a okaże się taka potrzeba sił roboczych, że nie będziemy ich mieli na wywóz, że silne i zdrowe ręce nie będą potrzebowały szukać szczęścia za morzami. Nie będziemy wówczas czytali, że całe wsie w roku bieżącym nie mogły zachować tradycyjnych zwyczajów podczas obchodu świąt wielkanocnych, że bochen chleba czarnego zastępował u nich święcone.

Do czego doprowadza konkurencja w pracy, mieliśmy świeżo dowód w smutnych zajściach lwowskich. Rusini wogóle są leniwi i powolni, stąd nie przedstawiają dobrego materjału na robotnika. Z tego powodu przedsiębiorcy większych budowli chętnie sprowadzają Włochów i Mazurów. Ci ostatni okazali się nietylko pracowitymi, ale i oszczędnymi, a więc pracodawcy zaczęli się o nich ubiegać. Wywołało to silne niezadowolenie między lwowską ludnością robotniczą, które doprowadziło do ekscesów, a mianowicie do gromadnych napadów na Mazurów. Wprawdzie wdanie się policji zapobiegło możliwym smutnym następstwom, bo skończyło się tylko na kilku siniakach, ale fakt ten dokładnie ilustruje przykre stosunki i wzmagającą się nienawiść już nie rasową, lecz zaściankową. Prowodyrami w tych zajściach mieli być wybitniejsi członkowie jednej z partji socjalistycznych, którzy chcieli wymierzyć przy sposobności zemstę pośrednią na przywódzcy odłamu socjalistów, zowiącego się „robotniczą partją socjalistyczną“. Jest nim p. dr. Breiter, którego ojciec właśnie używa Mazurów przy budowie drugiego toru kolei ze Lwowa do Złoczowa.

Fakt ten jest zarazem wysoce charakterystyczny, jako wykazujący różnicę praktyki i zasad: równouprawnienie bowiem i wolność zarobkowania należą wszakże do haseł socjalistycznych. Ale wogóle od socjalizmu naszego konsekwencyi trudno wymagać, jest jeszcze bowiem zbyt młody, a niski stan oświaty między robotnikami daje łatwe pole rozmaitym jednostkom do puszczania wody na swój młyn własny. Nadzieje, przywiązane do reformy wyborczej, nietylko nie przyczyniły się do ścieśnienia szeregów socjalistycznych, ale je rozluźniły. Ktoś zauważył, iż za dużo między przywódzcami socjalistów jest kandydatów na posłów — i kto wie, czy to nie słuszna uwaga. Wyszła we Lwowie broszura napisana przez p. Prawdzica (Juliusza Landmana), która podaje rys ruchu socjalistycznego we Lwowie w ostatnich latach trzech i dowodzi silnego rozłamu, panującego w obozie. W broszurze tej autor wystąpił ostro, nie krępując się wyrażeniami, przeciwko takim przywódzcom jak Diamand, Fraenkel, Daszyński: szczególnie się uwziął na tego ostatniego, jako przywódzcę socyalistów na gruncie narodowym. Już w r. 1891 rozłamali się socyaliści lwowscy na radykalnych i narodowych. Pismo „Robotnik“ i „Praca“ prowadziły pomiędzy sobą nieustanną walkę. W Stowarzyszeniu „Świt“ Breitera zaszedł znowu rozłam, wskutek tego powstało trzecie stowarzyszenie „Sztandar“, które oddzieliwszy się od „niezawisłych“, tworzy robotniczą partję socjalistyczną“. Ton broszury Prawdzica, zarzuty ciskane na przeciwników aż nadto dowodzą, do jakiego stopnia panuje niezgoda w tym obozie.

Z broszury Prawdzica widzimy, że są trzy odłamy socjalistów, a od ks. Stojałowskiego dowiadujemy się, że on stoi na czele czwartej partji socjalistycznej, chłopskiej. Wychodzący w Przemyślu „Kurjer“ pomieścił list tego „bojownika za sprawę ludową“, w którym wzywa do zgody wobec wspólnego wroga. Wy jesteście socjalistami bez religii, pisze ks. Stojałowski, a my jesteśmy socjalistami na chrześcijańskich podstawach, ale nie teraz pora dla sporu między wami a nami. Później się porachujemy, jak zwyciężymy, a teraz idźmy w zgodzie razem na nieprzyjaciela. Inaczej przepadniemy, bo nie mamy na kogo liczyć, nikt nas nie popiera: ani „lokajska demokracja“, ani nędzne dziennikarstwo, które o socyaliźmie umie tylko powiedzieć „kilka czczych frazesów ze starego śmietnika szlacheckiego o ojczyźnie i narodowości“. List swój kończy ks. Stojałowski utyskiwaniami nad stańczykostwem na Szląsku. Założył on drukarnią w Czaczy, która jest własnością ludu, a tymczasem przedstawiciele tego ludu, prowodyrzy sprawy narodowej, nie dają tej drukarni nic do roboty.

Kiedy mowa o ludzie, należy kilka słów poświęcić „Kółkom rolniczym“; odbyły one bowiem właśnie swój zjazd doroczny w Tarnopolu. Nie wchodząc w szczegóły obrad, podam tylko kilka cyfr ze sprawozdania głównego Zarządu. W roku ubiegłym założono nowych Kółek 76, tak więc liczba ich ogólna doszła do 50 tysięcy członków. W roku zeszłym dokonano w 260 gminach lustracyi gospodarstw włościańskich, przyczem udzielano wskazówek fachowych 12,000 słuchaczów. Sklepików własnych liczą Kółka 800, czytelnie ich posiadają 72,500 książek i 2407 czasopism. Za wpływem „Kółek“ lud coraz więcej interesuje się sprawą wiejskich kas oszczędności, nabiera do nich ufności i składa w nich grosz zapracowany, zamiast go jak dawniej dusić w skrzyniach i chować za piecem. Kasy te prosperują dobrze, a nawet przynoszą finansowe zyski; w kilku wsiach dały fundusz na budowę szkoły, poparły miejscowe przedsiębiorstwa, usunęły karczmy i lichwę. Włościanie zaczynają coraz chętniej się zabezpieczać i dają grosz potrzebny na założenie miejscowych straży ogniowych.

Zarząd „Kółek“ pracuje obecnie nad założeniem instytucyi bezpłatnych porad prawnych dla włościan. Widzimy zatem, iż uświadomienie ludu przy pomocy „Kółek rolniczych“ postępuje naprzód i dobre przynosi owoce. Świeżo dzienniki doniosły, iż we wsi Jeleń koło Jaworzna, założyli włościanie własne Towarzystwo gimnastyczne „Sokół“. Wszystkie te objawy muszą szczerą radością przejmować prawdziwych przyjaciół ludu. Czy ks. Stojałowski może się pochwalić podobnemi owocami swej pracy?

Mogą natomiast pochwalić się inicyatorzy założenia muzeum imienia Matejki w Krakowie. Zebrany przez nich fundusz wynosi już 25,000 złr., co po zaciągnięciu pożyczki daje już możność zakupienia domu, w którym Matejko się urodził i który do ostatnich dni życia zamieszkiwał. Nie ma jednak funduszów na samo muzeum, a z tego powodu postanowiono zawiązać „Towarzystwo imienia Matejki“, składające się z członków czynnych, płacących 100 złr. i wspierających z wkładką 6 złr. rocznie. Od ilości członków naturalnie zależeć będzie stopniowe tworzenie muzeum, które na razie posiada tylko zbiór historycznych strojów, makat i starożytnych przedmiotów, pozostały po mistrzu, a zakupiony przez sejm krajowy. Kiedy muzeum zostanie już utworzone i uporządkowane, Towarzystwo rozwiąże się, a zbiory wraz z domem przejdą na własność gminy miasta Krakowa.

Nawiasem mówiąc nie przypominam sobie, aby ta gmina przyczyniła się jakąkolwiek kwotą na cele tego muzeum. Wogóle jest ona nadzwyczaj ciężka do robienia wydatków na cel publiczny, chyba, że poza tym celem kryje się prywatne przedsiębiorstwo. Tak się ma rzecz np. z operą, która przez lato ma kształcić słuch muzykalny Krakowian. Jest to przedsiębiorstwo prywatne, ci co go się podjęli mogą stracić albo zarobić, gmina zatem dosyć daje, jeżeli pozwala dzierżawcy teatru użyczyć gmachu na przedstawienia operowe. Gdyby ten dzierżawca sam postanowił utrzymywać corocznie operę sezonową, miałby słuszne prawo żądać podniesienia subwencyi krajowej. Ale co to kogo obchodzi, że pp. X. i Z. podejmują się na własną rękę przedsiębiorstwa operowego? Tymczasem Rada miejska uchwaliła tym przedsiębiorcom dać 2000 złr. i poprzeć ich prośby o subwencyą w Wydziale krajowym. Tłomaczono mi, że tu idzie o podniesienie muzyki; bardzo ładnie, ale ja mam od dawna myśl podniesienia dziennikarstwa i chciałbym założyć dziennik większy i lepszy od wszystkich istniejących w Galicyi. Redakcya tego dziennika składałaby się z najznakomitszych publicystów, miałaby korespondentów pierwszej wody we wszystkich stolicach europejskich (no i w Japonii, bo to kraj ciekawy) posiadałaby własne druty telefoniczne, drukowałaby fejletony i prace naukowe najznakomitszych literatów i uczonych, zaprowadziłaby wspaniały dział ekonomiczny, dawałaby ilustracye wypadków bieżących i portrety, zakreśliłaby sobie szeroki program podniesienia ekonomicznego, moralnego i umysłowego ludu, dawałaby skuteczną inicyatywę do rozwoju handlu i przemysłu, opiekowałaby się rolnictwem itd. itd. Któż zaprzeczy, że to jest myśl ładna, któż zaprzeczy, że taki dziennik odegrałby wybitną rolę, że w każdej dziedzinie życia naszej prowincyi zaznaczyłby swe istnienie dodatniemi rezultatami. Jakaś tam opera toć to głupstwo wobec doniosłych rezultatów, jakieby dziennik taki sprowadził, zwłaszcza, że warunki jego prenumeraty byłyby przystępne dla sfer mało zamożnych. A jednak, klnę się na wszystkich bogów Olimpu, że Rada miejska na dziennik ten nie przeznaczyłaby nawet 100 złr. rocznie, tłomacząc się, że jestto... przedsiębiorstwo prywatne. Dla czegoż więc daje subwencye prywatnemu przedsiębiorstwu operowemu?

K. Bartoszewicz.

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Frekwencya wyższych szkół w Prusiech w latach 1872—1892.

Z szczególniejszem uwzględnieniem prowincyi przez ludność polską zamieszkanych.

Napisał
Romuald Łazęga.

Pod wyględem wyznań było pomiędzy uczniami:

a) w Prusiech zachodnich:

Tab. 8.

w latach:	ewangielików	katolików	żydów	czyli 1 uczeń na głów ludności u ewang.	katol.	żydów
1872-3—75-6	—	—	—	—	—	—
1876-7—80-1	4391	1238	772	150	543	35
1881-2—85-6	4325	967	735	155	722	35
1886-7—90-1	4095	1028	662	165	690	38
1891-2—92-3	4132	1159	572	165	698	38

b) w Księstwie Poznańskiem:

Tab. 9.

w latach:	ewangielików	katolików	żydów	czyli 1 uczeń na głów ludności u ewang.	katol.	żydów
1872-3—1875-6	2751	1915	1390	187	530	45
1876-7—1880-1	2902	1539	1387	181	693	43
1881-2—1885-6	3074	1577	1483	173	711	36
1886-7—1890-1	3163	1626	1225	170	705	39
1891-2—1892-3	2908	1736	1070	182	671	41

c) w Szląsku:

Tab. 10.

w latach:	ewangielików	katolików	żydów	czyli 1 uczeń na głów ludności u ewang.	katol.	żydów.
1872-3—1875-6	7664	4521	2013	233	426	23
1876-7—1880-1	8364	4506	2418	220	448	21
1881-2—1885-6	8152	4468	2461	231	474	21
1886-7—1890-1	8299	4665	2129	230	464	23
1891-2—1892-3	7847	4744	1981	245	474	24

Z porównania tych tabel wynika, iż co do względnej ilości uczniów swego wyznania ewangielicy najlepiej postawieni byli w Prusiech zachodnich, gorzej nieco w Księstwie Poznańskiem, a najgorzej w Szląsku, gdzie cyfra ich nie dochodziła wysokości przeciętnej cyfry, wypośrodkowanej przez nas dla wyznania ewangielickiego w tabeli 2.

Żydzi najlepiej byli postawieni w Szląsku, najgorzej w Księstwie Poznańskiem. Jeżeli zaś względna ich liczba w czasach ostatnich zdawała się zmniejszać po wyższych zakładach naukowych wszystkich trzech prowincyi, to pozory te nie powinny nas łudzić. Albowiem wielu z nich odwiedza szkoły w Berlinie i innych wielkich miastach, korzystając z ofiarności bogatych współwyznawców lub też bogatych krewnych.

Katolicy na zbytek inteligencyi skarżyć się nie mogą. Osobliwie smutnie wygląda pod tym względem w Księstwie Poznańskiem, gdzie liczba przeciętna uczniów szkół wyższych zredukowana do cyfr ludności katolickiej, jest stanowczo niższą niż na Szląsku i tylko w dwóch okresach t. j. w latach 1881-2—1885-6 i 1891-2 do 1892-3 o 11, odnośnie o 27 wyższą, natomiast w dwóch innych peryodach, w latach 1876-7—1880-1 i 1885-6—1890-1 o 150, odnośnie 15 niższą niż w Prusiech zachodnich.

Podług poszczególnych kategoryi zakładów było:

a) w Prusiech zachodnich:

Tab. 11.

w latach:	w gimnazyach klasycznych: ewangielików	katolików	żydów	w gimnazyach realnych: ewangielików	katolików	żydów	w innych zakładach realnych: ewangielików	katolików	żydów
1872-3—1875-6	—	—	—	—	—	—	—	—	—
1876-7—1880-1	2606	1073	592	1220	95	132	565	70	48
1881-2—1885-6	2789	834	611	1037	75	67	479	58	57
1886-7—1890-1	2727	913	494	854	53	43	514	62	65
1891-2—1892-3	2504	1021	418	719	45	36	909	93	118

b) w Księstwie Poznańskiem:

Tab. 12.

w latach:	w gimnazyach klasycznych: ewang.	katol.	żydów	w gimnazyach realnych: ewang.	katol.	żydów
1872-3—1875-6	1852	1670	1075	899	245	315
1876-7—1880-1	2050	1335	1079	852	204	308
1881-2—1885-6	2328	1347	1268	746	230	215
1886-7—1890-1	2435	1437	1028	728	189	197
1891-2—1892-3	2304	1582	891	604	154	179

c) na Szląsku.

Tab. 13.

w latach:	w gimnazyach klasycznych: ewangielików	katolików	żydów	w gimnazyach realnych: ewangielików	katolików.	żydów	w innych zakładach realnych: ewangielików	katolików	żydów
1872-3—1875-6	5169	3889	1600	2050	552	350	445	80	54
1876-7—1880-1	5500	3640	1926	1788	527	329	1076	339	163
1881-2—1885-6	5509	3559	1875	1312	371	266	1331	538	320
1886-7—1890-1	5371	3704	1524	1165	385	237	1732	576	368
1891-2—1892-3	4824	3844	1384	1158	362	209	1855	568	388

Przypada zatem 1 uczeń na głów ludności:

a) w Prusach zachodnich:

Tab. 14.

w latach:	w gimnazyach klasycznych u ewangielików.	katolików.	żydów.	w gimnazyach realnych u ewangielików.	katolików.	żydów.	w innych zakładach relnych u ewangielików.	katolików.	żydów.
1876-7—1880-1	253	627	45	541	7082	202	1168	9611	555
1881-2—1885-6	240	837	42	634	9302	382	1399	12030	449
1886-7—1890-1	247	777	47	790	12390	540	1313	11450	357
1891-2—1892-3	272	703	52	947	15940	604	749	7715	184

b) w Księstwie Poznańskiem:

Tab. 15.

w latach:	w gimnazyach klas. u ewan-gieli-ków.	katoli-ków.	żydów.	w gimnazyach realnych u ewan-gieli-ków.	katoli-ków.	żydów.
1872-3—1875-6	277	608	58	572	4143	198
1876-7—1880-1	256	799	55	616	5230	193
1881-2—1885-6	229	832	42	718	4874	250
1886-7—1890-1	220	798	46	737	6069	242
1891-2—1892-3	235	736	50	897	7558	253

c) na Szląsku:

Tab. 16.

w latach:	w gimnazyach klasycznych u ewangie-lików	katoli-ków.	żydów.	w gimnazyach reelnych u ewangie-lików.	katoli-ków.	żydów.	w innych zakładach realnych u ewangie-lików.	katoli-ków.	żydów.
1872-3—1875-6	346	496	29	873	3491	133	4020	24090	864
1876-7—18 0-1	334	555	26	1030	3883	151	1712	5959	306
1881-2—1885-6	341	595	29	1434	5712	196	1413	3939	163
1886-7—189C-1	355	584	32	1638	5621	209	1083	3757	134
1891-2—1892-2	398	589	35	1659	6207	230	1030	3956	124

Z powyższych tabel wynika niewątpliwie, że szkoły dla wyższej inteligencyi przeznaczone, tj. gimnazya klasyczne, ze wszystkich trzech prowincyi najsłabiej w Księstwie przez ludność katolicką były uczęszczane. Jedynie bowiem w Prusiech zachodnich w latach 1881-2—85-6 ilość głów na jaką przecietnie przypadał 1 uczeń w Prusiech zachodnich była o 5 większą niż w Księstwie. Zresztą predylekcya ludności do gimnazyum klasycznego, jaką wykazaliśmy w tabelach 3 i 4, w prowincyach przez ludność polską zamieszkanych występuje tylko tem wybitniej.

Co do ilości abituryentów poprzestajemy na cyfrach, odnoszących się do gimnazyów klasycznych, jako tej kategoryi szkół wyższych, które dla ludności katolickiej trzech prowincyi wschodnich największe mają znaczenie. Ale i te dokładniejsze dane, rozspecyalizowane podług wyznań, poczynają się z r. 1883-4, tak iż tylko obliczenia nasze co do lat 1883-4—1892-3 za dokładne uchodzić mogą.

Podług tych tedy zestawień było w przecięciu rocznem pomiędzy abiturentami:

Tab. 17.

w latach:	w Prusiech zachodnich u ewang.	katol.	żyd.	w Księstwie Poznańskiem u ewang.	katol.	żyd.	na Szląsku u ewang.	katol.	żyd.
1883-4—1885-6	102	27	19	84	40	53	202	131	67
1886-7—1890-1	122	46	23	96	45	39	200	130	57
1891-2—1892-3	110	58	24	105	55	32	201	140	63

Przypadał zatem 1 abiturent na uczniów:

Tab. 18.

w latach:	w Prusiech zachodnich u ewang.	katol.	żyd.	w Księstwie Poznańskiem u ewang.	katol.	żyd.	na Szląsku u ewang.	katol.	żyd.
1883-4 - 1885-6	27,3	30,9	32,2	28,0	33,7	23,9	27,1	27,2	29,0
1886-7—1890-1	22,3	19,8	31,5	25,4	31,9	26,4	26,9	28,5	26,6
1891-2—1892-3	23,7	17,6	17,4	22,0	28,8	28,0	24,0	27,2	22,0

Jak zatem widzimy i pod względem produkcyi abituryentów ludność katolicka Księstwa Poznańskiego wyróżnia się bardzo niekorzystnie od ludności dwóch drugich prowincyi. Objaw to wielce poważny i godzien zastanowienia. Jakkolwiek bowiem nie każdy, który kończy szkoły, wychodzi z nich uczonym, ilość przecież odwiedzających i kończących szkoły wyższe jest jedyną miarą, z której pomocą stopień rozszerzenia wyższej oświaty wśród klas przodujących oznaczyć możemy. My, poprzestając na cyfrowem stwierdzenin tego faktu, zbadanie jego przyczyn pozostawiamy innym.

NA WYŁOMIE.

(Wydziedziczeni. — Słodki sen i smutne przebudzenie. — Co czynić? — Niemieckość na wystawie.)

Jutro zatem otwarcie poznańskiej wystawy, a nad nią jak krzyk puszczyka unoszą się słowa naczelnego prezesa: „Jeżeli jedno polskie zdanie padnie w uroczystym akcie, jeżeli jeden toast polski zabrzmi na uczcie, ja wraz z reprezentantami rządu natychmiast ich opuszczę.“

Niemiecka większość komitetu tych słów się ulękła i lubo „prawa o języku urzędowym“ do prywatnego przedsiębiorstwa wystawy stósować nie można, skreślono z programu polskie przemówienia i polskie toasty. Liczono na potulność naszą i giętkość lojalnego karku, ale przeciągnięto strunę i — pękła. Polscy członkowie komitetu i grup poszczególnych zaprotestowali jednomyślnie w doskonale zredagowanem oświadczeniu przeciw takiemu bezprawiu i zapowiedzieli kategorycznie, że w niedzielę nikt z podpisanych nie zjawi się na placu wystawy. Za przykładem polskich członków komitetu pójdzie niezawodnie całe społeczeństwo nasze i w dniu otwarcia panowie Niemcy będą „sami z sobą“. Dla nas wystawa zaczyna się dopiero w poniedziałek, — niedziela z piętnem germańskiej buty i szowinizmu na czole nie istnieje dla polskiego narodu. Z okrzykiem „*Hoch!*“ nie złączy się polskie „Niech żyje“, — ha! może to i lepiej.

Co do mnie to wyznaję otwarcie, że w irytujących wypadkach dni ostatnich krew moja nie kipiała tak gorąco, jak u wielu z kolegów, przyjaciół i znajomych, bo „piorunem z jasnego nieba“ nie był dla mnie figiel teutoński. Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że w samych początkach dziejów wystawowych głosem Kassandry wróżyłem klęski i zawody, a gdy prezesa komisyi kolonizacyjnej powołano do honorowego komitetu, rzuciłem słowo: „On albo my! wybierajcie!“ Przeczuwała już wonczas redakcya nasza, że na tym pierwszym beztakcie *nie* skończy się teutońska bezwzględność, ale jak owa wróżka trojańska, której smutnym proroctwom nikt nie uwierzył, aż święte Ilium w proch nie runęło, tak i my samotni staliśmy wonczas, — bez echa. Do ukołysania społeczeństwa w słodki optymizm przyczynił się oczywiście niemało „Dziennik Poznański“, który — któż zgadnie z jakich powodów? — ogłosił fałsz tendencyjny, że prezes komisyi kolonizacyjnej z komitetu wystawy ustąpił. Później przekonano się, że plotkę tę puszczono jedynie dla zbałamucenia opinii, ale „organ poważny“ nie sprostował informacyi błędnej i społeczeństwo nasze, uwiedzione na razie bajeczką „Dziennika“, złudzone obietnicą równouprawnienia obu języków i pociągnięte nęcącą pobudką prasy, zawarło polsko-niemieckie przymierze.

Niemieckiej większości komitetu oddać muszę tę sprawiedliwość, że z małemi wyjątkami nie nadwyrężała dość długo harmonii dwóch obcych sobie społeczeństw. Widzieliśmy dwujęzyczne ogłoszenia, listy, katalogi, plakaty, a choć od czasu do czasu odzywało się polskie sykanie, spowodowane ukłuciem niemieckich szpileczek, nigdy zgrzyt silniejszego dysonansu nie zmącił zgodnego współdziałania. Mimo to jednak nie mogłem się pozbyć jakiegoś głuchego przeczucia, że w stanowczej chwili szarpną nas za serce i podepczą stopą brutalną.

Oni? Wszak świadczy historya, że z tej strony tylko zdrada pełzała po kraju i krzyk wojny i płomienne języki pożogi. „Krzyżackiego gadu nie ugłaszcze nikt“ — tak przed wiekami mówili Litwini, a dziś?

„Dziś to rycerstwo nie ma już mocy,
Lecz mu pazury zostały,
Dawniej grabiło wśród ciemnej nocy,
A dzisiaj grabi w dzień biały“.

Tak śpiewa Kraushar w swoich „Strofach“ serdecznych.

Ostatnia krzywda jest tylko jednem ogniwem długiego łańcucha bezprawi, które z tej strony na nas spłynęły. Stało się! W niedzielę noga polska nie postoi na placu wystawy, ale cofnąć się zupełnie od igrzysk przemysłu dziś już niepodobno. Utopiliśmy w wielkiem przedsiębiorstwie tysiące i dziesiątki tysięcy, z najwyższym trudem zgromadziliśmy okazy pracy naszej w hallach i pawilonach, więc mowy być nie może o bojkocie wystawy. Ani kapitałów gwarancyjnych wycofać, ani przedmiotów wystawionych usunąć nie wolno, — ratujmy to, co ratować można, pilnujmy hardo i sumiennie resztki praw naszych, by ich nie ukrócono. A zakusy ku temu zjawiły się podobno w pawilonie pracy kobiecej, gdzie jakieś niemieckie „coś“ w spodniach czyj w spódnicy, burmistrzuje aż miło.

Nienasycony naród! Zdobył wystawę, wycisnął na niej swój niemiecki stempel i jeszcze się pieni, jeszcze zazdrością dyszy, gdy wśród

potopu niemieckich okazów ujrzy znak drobny życia polskiego. Przecież my palmy zwycięztwa wydrzeć mu nie możemy, bo przy pomocy innych prowincyi swoich, które nas za pośrednictwem miejscowych reprezentacyi zasypały niemieckim przemysłem, tryumfować musi na igrzysk arenie. Dziś jeszcze wystawa jest polską, gdyż mnóstwo ludu naszego pracuje nad tualetą tej pani, i język polski króluje wszędzie; ale niebawem, gdy ten tłum mrówek roboczych spełni zadanie swoje i „pani Wystawa" zaprezentuje się *„à quatre épingles"*, ujrzymy Niemkę — *„Kennst du ihre Farben?"* Jeżeli nie znasz, to przejdź się do pawilonu restauracyjnego lub do piwiarni. Zbudowane w staroniemieckim stylu, z niemieckimi rycerzami na ścianach, z niemieckiemi wierszykami o „Gerstensaft" i „gutem Trunk", a wewnątrz na polskie: „Proszę o piwo" odpowiada niemieckie: „Was? ich verstehe nicht". A jest to jedyna restauracya i jedyna piwiarnia, więc nie ma wyboru. Idź i mów po niemiecku, — tak się kończą zalecanki i polsko-niemieckie przymierza.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Nakładem warszawskiej firmy księgarskiej M. A. Wizbeka, a z pod tłoczni drukarskich Sierpińskiego, wyszedł nader wdzięcznie i wykwintnie wydany nowy utwór znanego poety i powieściopisarza Kazimierza Glińskiego p. t. „Chata Nikodema." Jest to uscenizowana drobnostka poetycka, wyposażona właściwemi Glińskiemu zaletami pióra, w których wykwint formy idzie o lepsze z dobrze pomyślaną treścią. Wiersz gładki, pełen siły, nieskażony obcemi naleciałościami język — oto zalety wydanego utworu. W Salusi, córce gminu, którą przygarnął do siebie, dając jej swe nazwisko, hr. Izydor, kocha się syn jego, hr. August. Salusia, siedmnastoletnie dziewczę, nie wie o swojem pochodzeniu; instynktownie tylko lgnie do maluczkich, otaczając ich swą opieką, przychodząc im nieraz z pomocą. W chwili, gdy hrabia-ojciec spostrzegł, iż miłość Augusta do Salusi nie jest siostrzaną, opowiada synowi historyę pochodzenia dziewczęcia. Opowieść tę podsłuchała Salusia; z uśmiechem na ustach, z sercem, przepełnionem radością, pyta, czy ona istotnie chłopskie dziecię? — „Teraz pójdę śmiele — rzecze —

„Gdzie serca chore, gdzie się myśl rozprasza,
Jak niewiązane pilną ręką ziele —
I powiem chatom: jestem córka wasza!
I ja wam powiem: drobnem ziarnkiem jestem,
Kłosem pszenicznym i wiatru szelestem —
Nad wygonami pól stanę z uśmiechem,
Miodowem kwieciem wśród łąk się uścielę,
Zapachnę sianem i zadzwonię echem —
Ja — dziecię chłopskie!"

Po wybuchu tej radości następuje chwila zwątpienia: czy kocha ją teraz August? Kocha! bo oto przytula ją do swej piersi, szepcząc: „W takim uścisku tylko przyszłość nasza". — — „Auguście — chodźmy na mogiłę mamy!" Życzeniem tem kończy Salusia tę pełną poezyi drobnostkę, której jednak myśl przewodnia pozostawia głębsze wrażenie. Za obdarzenie literatury naszej tą istną perełką poetycką należy się autorowi podzięka.

* * *

Wiktor Hahn. Studyum nad genezą Lilli Wenedy. Lwów 1894. Nazwisko Wiktora Hahna zyskało sobie w ostatnich czasach zasłużone uznanie wśród historyków literatury, a najświeższa rozprawka młodego badacza o genezie Lilli Wenedy jest nowym dowodem, że autor rozporządza obfitym zasobem wiedzy i posiada metodę doskonałą. W pracy swojej o Lilli Wenedzie wykazuje Hahn wpływy Müllera, Byrona a mianowicie Chateaubrianda na dramatyczny utwór Słowackiego, wspominając także pewne ślady Chateaubriandowskiego „René" w Anhellim. Myli się jednak młody uczony twierdząc, że on pierwszy odkrył pokrewieństwo między religijną epopeją, napisaną w prozie: „Les Martyrs" a Lillą Wenedą, bo już w roku 1892 podał p. Gasztowt w „Bulletin polonais" wyjątek z przedmowy swojej do francuzkiego przekładu Lilli Wenedy, w którym mówiąc o wpływie „Męczenników" na Słowackiego, tak się wyraża:

„Utwierdza mnie w tem mniemaniu kilka reminiscencyi w szczegółach utworu n. p. kreacya dwóch Wenedów, przypominających nadzwyczaj owych dwóch Franków w bitwie, tak wymownie opowiedzianej przez Eudoksję, — oraz kapłanka Weneda, wykazująca pewne podobieństwo do Velledy, z wyjątkiem jej przygód romantycznych, bo Słowacki nie posiada wcale tej zmysłowości, która według zdania Sainte-Beuve'a jest jednym z żywiołów talentu Chateaubrianda".

W dalszym ciągu francuzkiej rozprawy swojej wykazuje Gasztowt, że Słowacki chciał poprawić Chateaubrianda „sprowadzając do ludzkich rozmiarów chrześcijański heroizm świętych w pierwszych stuleciach".

Pomijając tę niedokładność, odznacza się praca p. Wiktora Hahna bogatym materyałem porównawczo — dowodowym i ścisłością argumentacyi.

W. R.

* * *

Nieznany wiersz Słowackiego. P. Méyet w „Sztambuchu matki Juljusza Słowackiego", będącym własnością autora, znalazł między innemi nieznany wiersz, który Słowacki zapisał w sztambuchu Ludwika Spitznagla, swego przyjaciela i kolegi, o którym poeta w swym pamiętniku powiada, iż „był to kwiat piękny, który nie wydał owocu". Jak wiadomo, Spitznagel w młodym wieku zakończył życie samobójstwem. Powtarzamy tu ów wiersz, podany przez p. M. po raz pierwszy w całości (dotychczas znaną była tylko jedna zwrotka, powtórzona przez Słowackiego w „Pamiętniku").

Do Ludwika Spitznagla.

Ludwiku!... jak dwie gwiazdy podobne na niebie
Wiecznie nieznana siła oddala od siebie,
Tak i my na tej świata rozległej przestrzeni
Choć myślą, sercem blizcy — losem rozłączeni.

Wkrótce, gdy ci na morzu jutrzenka zaświeci,
Kiedy usłyszysz w żaglach lekkie wiatru tchnienie,
Pomyśl, że to ostatnie przyjaźni westchnienie,
Które na skrzydłach myśli aż za tobą leci.

Jeden, jeden nam tylko skarb teraz zostaje:
Myśl, która nie zna tamy i za sercem płynie;
Ona ciebie przeniesie w twe rodzinne kraje,
A mnie na brzegi Nilu, w Afryki pustynie.

Pozwól więc, pozwól bujać swojej wyobraźni,
Poświęć chwilę wspomnieniom i szczerej przyjaźni:
Niestety, jak dwie gwiazdy podobne na niebie,
Wiecznie nas przeznaczenie oddali od siebie.

* * *

Redakcyę „Oesterr. Musik- u. Theater-Zeitung" (Wiedeń-Lipsk), najpoważniejszego pisma muzycznego w monarchii austryackiej, objął z dniem 1 maja znany, obecnie we Wiedniu zamieszkały muzyk czeski Brzetysław Lwowsky. Nowy redaktor wyznaczył z natury rzeczy muzyce słowiańskiej wybitne miejsce w swem świetnie redagowanem piśmie. W ostatnim numerze z 16go bm. zamieszcza St. Meliński obszerny artykuł sprawozdawczy o najnowszym ruchu muzycznym polskim w ogóle, a w szczególności we Lwowie.

* * *

Nakładem wiedeńskiej (!) firmy Bondego wychodzić zaczęła „Historya powszechna ilustrowana", opracowana na podstawie najnowszych badań historycznych, z szczególnem uwzględnieniem historyi polskiej pod kierownictwem prof. dr. Kubali przez prof. dr. Czesława Pieniążka, dr. Henryka Sawczyńskiego i Alfreda Szczepańskiego. Dzieło to, składające się z 12 tomów (każdy tom 40 arkuszy druku) zawierać będzie około 3000 ilustracyi, map, planów i podobizn rękopisów. Dotychczas ukazały się dwa tomy: Część pierwsza historyi starożytnej i część pierwsza czasów nowożytnych, — a początek ten świadczy wymownie, że wydawnictwo „Historyi powszechnej" posiada tak pod względem naukowym jak literackim i ornamentacyjnym wybitne zalety. Tom pierwszy dziejów starożytnych opracowany według wydawnictwa Spamera przez prof. Pieniążka obejmuje historyę czasów najdawniejszych aż do zawiązków historyi greckiej, a zawiera przeszło 200 ilustracyi i 22 kartony. Tom pierwszy historyi nowożytnej, opracowany (również według Spamera) przez Alfreda Szczepańskiego, zawiera dokładny obraz epoki odkryć i reformacyi aż do panowania Filipa II. W tomie tym znajduje się przeszło 150 pięknych ilustracyi i 21 kartonów.

* *

W poznańskich księgarniach ukazał się obraz metrowej wielkości w heliograwurze, przedstawiający jeden z najsłynniejszych utworów Grottgera p. t. „Pochód na Sybir". Wykonanie tej heliograwury wyróżnia się pięknością swoją od innych podobnych wydawnictw, a zaleca się nadto niezwykłą niskością ceny (3 marki za egzemplarz). Artyzm obrazu, treść patryotyczna i taniość uderzająca zgotowały taką popularność wydawnictwu temu, że, jak nas poinformowali księgarze, rozchodzi się ono z niesłychaną szybkością nietylko w Polsce, lecz nawet w Ameryce i Anglii. Nazwisko wydawcy i nakładcy nie jest obce polskiej publiczności, bo jest nim p. Adam Kaczurba z Krakowa, który mnóstwem wydawnictw artystecznych, a mianowicie pomnikowem dziełem „Katedry Wawelskiej" zjednał sobie rozgłos szeroki i zasłużone uznanie.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Na wystawie etnograficznej w Pradze przyszło do kilkunastu aresztowań z powodu odśpiewania zakazanych pieśni narodowych przez grono młodzieży rzemieślniczej i akademickiej. Wypadek ten stara się prasa niemiecka rozdąć do rozmiarów niebepiecznej demonstracyi. — Nominacyę hr. Gołuchowskiego ministrem spraw zewnętrznych w Austryi przyjęła dość przychylnie prasa niemiecka i francuzka. — Wojska hiszpańskie na Kubie odniosły pod Guantanamo zwycięztwo nad powstańcami. Mimo to sprawa powstańców stoi pomyślnie, a pisma amerykańskie donoszą codziennie nieomal o ciężkich stratach, jakie Hiszpanie ponoszą w drobnych utarczkach. — W Międzyrzeczu odbyło się wielkie zebranie antysemickie, na którem przemawiał znany agitator Werner. Mówca krytykował ostro socyalną demokracyę i spółkę K. H. T. Na rozkaz ministra Bossego zagroził swego czasu rektor uniwersytetu wrocławskiego akademikom, którzyby podpisali petycyę o odrzucenie projektu przewrotowego, karą dyscyplinarną. Senat jednakże oświadczył jednogłośnie, że nie może ukarać odnośnych akademików, ponieważ nie uczynili niczego, coby się nie zgadzało z prawami akademickiemi.

Teatr i muzyka. Poznańskie towarzystwo dramatyczne, podróżujące w letnich miesiącach po miastach prowincyonalnych zeszczupleje niebawem. Wyjeżdżają bowiem do teatru łódzkiego pp. Trapszo i Rapacki, oraz p. Helena Zimajer. Pierwszy powraca do Łodzi na urząd reżysera. — Mieczysław Frenkiel rozpocznie szereg gościnnych występów we Lwowie 8 lipca.

Znana i poznańskiej publiczności pani Bissen-Janowska wystąpi gościnnie na krakowskiej scenie. — Według „Tempsa„ ma być w teatrze „des Poetes" przedstawioną „Baladyna" Slowakiego w przekładzie Gasztowta. — Wzbroniona zrazu w Kopenhadze sztuka Esmana p. t. „Wielka Maskarada" wystawioną została w „Dagmar-teatrze" z miernem powodzeniem. Julius Massenet pracuje nad nową operą, która ma nosić tytuł „Frou-Frou" i opierać się na treści znanego dramatu Meilhaca i Halevyego tejże nazwy. Panna Marya Grass, artystka teatrów rządowych w Warszawie, posiadająca głos altowy rzadkiej piękności i siły, śpiewała na próbę 16 b. m. w Dreznie w obecności intendanta teatrów król. i wielu powag muzycznych. Artystka nasza tak zachwyciła słuchaczów, że słynny maestro Lamperti podjął się „kontraktowo" ostatecznego kształcenia jej głosu, rokując jej przyszłość niepospolitą.

Zmarli:

Feliks Jaroński, muzyk i kompozytor dumek, zm. w Kielcach w początkach maja.

Franciszek Suppé, znany kompozytor operetkowy, zm 22 bm. we Wiedniu

Odpowiedzi Redakcyi.

Eliza B. Dla zachęty zamieszczamy. Przekładów chwilowo przyjąć nie możemy, bo odcinek nasz na czas dłuższy zajęty. Racz Pani zgłosić się do nas w początkach jesieni i odsłonić swój pseudonim. Nazwisko pozostanie oczywiście tajemnicą redakcyi.

N 100 N. Tak sądzi całe inteligentne społeczeństwo, ale nie ma odwagi wypowiedzieć zdania swojego otwarcie. Ze obrażona, a w tym wypadku chorobliwa próżność mścić się będzie w sposób nieszlachetny, rozi nosić plotki kłamliwe, rzucać z za płotu kamieniem i „na złość" zmieniać przekonania swoje, to stara historya, powtarzająca sią zawsze u natur niskich. Zresztą tam przekonań nie było nigdy. Była tylko zdolność wypowiadania czczych ogólników i tyrad bez sensu z filozoficzną powagą.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 22. Poznań, Niedziela 2 czerwca 1895r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. f. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

WYJAŚNIENIE.

Nareszcie możemy czytelnikom naszym podać autentyczne szczegóły o stanowisku „Koła polskiego“ w sprawie ustawy przewrotowej. Informacye nasze nie mają charakteru urzędowego, bo sekretarz „Koła“ nie nadesłał nam dotychczas oficyalnego wyjaśnienia, ale oparte są na źródłach tak poważnych, że wiarogodność ich nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Na decydującem posiedzeniu „Koła polskiego“ postanowiła reprezentacya nasza głosować przeciw ustawie przewrotowej (w formie rządowej i komisyjnej) jako całości, natomiast przy głosowaniu nad poszczególnemi paragrafami projektu komisyjnego popierać niektóre z tych paragrafów. Po dłuższej dyskusyi w gronie szesnastu obecnych na sesyi posłów zapadła uchwała niemal jednogłośnie. Samo głosowanie w parlamencie przedstawia obraz następujący. Koło polskie głosowało **za 5 paragrafami projektu komisyjnego**, i to:

1) za § 130, którego brzmienie jest następujące: „Karze pieniężnej aż do 600 marek lub więzieniu aż do lat dwóch podlega ten, kto w sposób zagrażający pokojowi publicznemu zaczepia publicznie w obraźliwych słowach małżeństwo, rodzinę i własność (!) jako podstawy porządku społecznego.“ (Cytujemy tylko te ustępy paragrafów, które dotychczas w kodeksie karnym się nie znajdowały i na mocy nowej ustawy wprowadzone być miały.)

2) Za § 166. Giętki ten paragraf opiewa, że trzechletniej (!) karze więzienia podlega ten, kto w obraźliwych słowach zaczepia wiarę w Boga lub chrześciaństwo, albo Bogu bluźni, oraz kto publicznie obraża jakikolwiek z kościołów chrześcijańskich lub którekolwiek z towarzystw religijnych istniejących na mocy praw korporacyjnych w obrębie rzeszy niemieckiej, — ich nauki, urządzenia i obrządki, — wreszcie kto w kościele lub w innem do religijnych zebrań przeznaczonem miejscu dokona obraźliwej swawoli (beschimpfenden Unfug treibt).

3) Za § 184. Paragraf ten zagraża sześciomiesięcznem więzieniem temu, kto niemoralne pisma, obrazy lub rzeźby sprzedaje, wystawia, rozszerza lub reklamuje, kto przez anonsy stara się wejść w związki niemoralne, oraz kto przedmioty przeznaczone do niemoralnego użytku w miejscach przystępnych dla publiczności wystawia lub publicznie ogłasza.

4) Za § 184a. Paragraf ten brzmi: „Karze więziennej aż do trzech miesięcy i karze pieniężnej aż do 300 marek lub jednej z kar powyższych podlega ten, kto na ulicach lub placach publicznych wystawia albo przytwierdza druki, obrazy i rzeźby, które wprawdzie niemoralne (unzüchtig) nie są, ale grubą nieprzyzwoitością mogą uczucia wstydu i obyczajowości dotkliwie obrazić. (?!!)

5) Za § 42 (ustępem drugim) wojskowego kodeksu karnego. Paragraf ten obostrza przepisy karne dotyczące osób, które już aktywnie w wojsku niesłużą, ale należą jeszcze do tak zwanej „rezerwy“ (Personen des Beurlaubtenstandes). Kto z ludzi tej kategoryi ukarany został przez sądy cywilne za zdradę stanu, obrazę monarchy krajowego lub książąt rzeszy, opór przeciw władzy i naruszenie porządku publicznego, może być jeszcze dodatkowo przez sądy wojskowe ukaranym dymisyą ze służby wojskowej lub degradacyą.

Oprócz paragrafów powyższych głosowało „Koło polskie“ za zniesieniem „paragrafu ambonowego“ a przy obradach nad § 112 (ośmieszanie wojska lub wojskowych urządzeń wobec członków aktywnego wojska) za poprawką katolickiego posła Lenzmanna; — gdy poprawka ta przepadła, oświadczyła się reprezentacya nasza przeciw § 112.

Do głosowania nad projektem komisyjnym jako całością nie przyszło.

Tak się przedstawia stanowisko „Koła polskiego“ wobec „ustawy przewrotowej“, a na mocy tego okazuje się, że sceptycyzm nasz wyrażony w artykule p. t. „Zamieszanie“ i zarzuty wytoczone w artykule „Niepoprawni“, posiadały w znacznej części przynajmniej, słuszne podstawy. Z pięciu powyżej przytoczonych paragrafów wynika bowiem, że to, co stanowiło zasadniczą barwę projektu komisyjnego, co było jego esencyą i głównym filarem budowy, co składało się na kamerton całej ustawy, znalazło poparcie Koła polskiego. Wieje z tych uchwał komisyjnych jakiś prąd wstecznictwa, idzie jakiś wielki przypływ mroku, który kładzie się na myśli ludzkiej, na sztuce, literaturze, nauce, ćmi światło i dusi swobodę ruchu ideowego. Pozornie zdawać się może, że w tych łańcuchach ukutych przez stronnictwo centrum, jest tylko hamulec przeciw wybrykom walczących prądów i tarcz przeciw nadużyciom artyzmu w celach rozpusty, ale wnikając w treść pogrzebanej ustawy widzimy, że te łańcuchy giętkie są i elastyczne jak kauczuk. Wyciągnąć je można i wydłużyć tak, że jak wąż owiną i zduszą wszystko, co ująć się nie da w żelazną obręcz panujących dogmatów społeczno-filozoficznych i zdawkowej etyki filisterskiej. W dziedzinie nauk społecznych, w zakresie filozofii i sztuki, w walce politycznych prądów staje ta ustawa nietylko jako słup graniczny tam, gdzie się kończy polemika, nauka i piękno a zaczyna swawola, wybryk i rozpusta, lecz jako bicz policyjny świszczący nad uchem tych, których myśl nie jest przykrojoną według rządowo-klerykalnego fasonu. Złożywszy w całym szeregu artykułów poglądy nasze na treść i skutki reakcyjnych zakusów, nad któremi parlament wyrok śmierci ogłosił, możemy dzisiaj poprzestać na tym ogólnikowym komentarzu, a pozostaje nam chyba dodać, że lubo Koło polskie stanęło w opozycyi do kilku ogniw tego łańcucha, któremi centrum katolickie skrępować chciało całe społeczeństwo, to jednak głosując za całym szeregiem ustaw niebezpiecznych, za najwybitniejszemi atutami wstecznictwa, za ciężkiemi hamulcami prądów humanitarnych, stanęło w sprzeczności z wolą narodu, zamanifestowaną z całą energią i stanowczością. To też by słowa protestu i krytyki, wypowiedziane w artykule p. t. „Niepoprawni“ zaledwie złagodzić możemy, lecz opierając się na programie, któremu służy nasz organ, rozgrzeszać nie mamy prawa.

POLITYKA.

Konflikt ministeryalny na Węgrzech.

II.

Z innej dziedziny życia społecznego, również jednak zawiłą i do rozwiązania trudną jest następna sprawa, która się do konfliktu hr. Banffy'ego z kardynałem Agliardim przyłączyła. Zatarg rządu węgierskiego z nuncyuszem papieskim przerodził się mianowicie w dalszych swych konsekwencyach w konflikt władz austryacko-węgierskich z węgierskiemi.

Jak to powszechnie wiadomo. Węgry cieszą się zupełną niemal samodzielnością polityczną. Unia ich z Austryą jest czysto osobistą. Rozkład wspólnych ciężarów podatkowych, unia celna i handlowa — dokonywują się na drodze umowy dyplomatycznej, za pomocą traktatów,

co lat parę odnawianych. Budżet wojskowy i ministeryum spraw zewnętrznych zatwierdzane są przez doroczne delegacye obu parlamentów: węgierskiego i austryackiego. Obie części monarchii habsburgskiej posiadają swe odrębne rządy, gabinety swe ministeryalne. Jedynie teki ministeryum wojny i spraw zewnętrznych wspólne są dla Trans- i Cislitawii.

Zdawaćby się mogło, że trudniej o rozumniejsze i praktyczniejsze przeprowadzenie unii dwóch krajów, z których każdy chce zachować całkowitą swą autonomią. Sprawy polityki wewnętrznej we wszystkich jej przejawach podlegają wyłącznej kompetencyi każdego z obu złączonych państw. Polityka zaś zewnętrzna i militaryzm są dziełem wspólnem całej monarchii, w tych bowiem sferach publicznego życia występuje ona zawsze jako jedna jedyna całość.

Pomimo to widzimy dziś poważny zatarg władz jednego ze złączonych państw ze wspólnem dla całej monarchii ministeryum spraw zagranicznych. I zatarg ten nie da się bynajmniej złożyć wyłącznie na karb nietaktu jednej lub drugiej z poróżnionych stron, jak to prasa oficyalna przedstawić usiłuje. Zarówno hr. Kalnoky jak i bar. Banffy, każdy ze swego stanowiska, był jak najzupełniej uprawnionym do tego, co uczynił, i co więcej, było to nawet poniekąd jego obowiązkiem. Prawda, że z obu stron padło nie jedno zbyt ostre słowo, że spór przybrał formę raczej polemiki dziennikarskiej, niż poważnego konfliktu dwóch przedstawicieli rządowych a sytuacya pogorszyła się przez to niezaprzeczenie. Nie o to nam wszakże chodzi. Nie w formie oświadczeń Kalnoky'ego i Banffy'ego leży jądro kwestyi, lecz w niedostateczności podstawowych urządzeń konstytucyjnych Austro-Węgier.

Bo i w rzeczy samej, o ile w świecie abstrakcyi da się polityka zewnętrzna od wewnętrznej jak najzupełniej odgraniczyć — i na tej podstawie najprzeróżniejsze systematy państwowe centralistyczno-autonomicznie zbudować — o tyle życie praktyczne wskazuje na ciągłą i stałą łączność spraw polityki wewnętrznej i zewnętrznej. Weźmy chociażby ów zatarg Kalnoky'ego z Banffy'm. Nuncyusz papieski przedsięwziął podróż agitacyjną do Węgier. Nie mogła pozostać ona bez poważnego wpływu na tok walki, którą dziś rząd węgierski wiedzie z partyą ludową i izbą magnatów. Jest to więc bezwarunkowo kwestya polityki wewnętrznej. Jako taka podlega ona kompetencyi rządu węgierskiego. Jedynym wszakże sposobem obrony przed agitatorskiemi zakusami kardynała Agliardi jest interpelacya Watykanu. Tu już wchodzimy w sferę dyplomacyi, a więc polityki zewnętrznej. — Setki podobnych przykładów daje nam każdy rok politycznego życia Europy. Nie szukając daleko, wspomnim tylko o stanowisku agraryuszów niemieckich do sprawy traktatu handlowego z Rosyą. Walczyli oni przeciwko niemu, gdyż zatrącał bezpośrednio o ich interesy ekonomiczne. I odwrotnie cesarz i rada związkowa sprzeciwiali się projektowi hr. Kanitza głównie ze względu na stosunek dyplomatyczny państwa niemieckiego do Rosyi.

W takim razie jednak niemożliwą jest całkowita separacya spraw polityki zewnętrznej i wewnętrznej, oddanie kierownictwa jednych i drugich niezależnym zupełnie od siebie organom rządowym. Przy wielkim takcie odpowiednich ministrów można na czas pewien uniknąć zatargów. Lecz i to, wtedy tylko, gdy sprawy sporne są mniej ważne. Gdy wszakże wstrząsną one najgłębszemi podstawami narodowego życia wtedy już nie ma ratunku. Największy lojalizm w postępowaniu zainteresowanych stron, najlepsze chęci kierowników obu krajów i ich parlamentów rozbijają się o żelazną konieczność biegu rzeczy.

Trudno znaleść poważniej myślące, spokojniejsze i rozsądniejsze narody jak Szwecya i Norwegia. Więzy łączące je są jak najmniej uciążliwe. Pomimo to jednak rozwój wewnętrznych stosunków tych krajów doprowadził je do namiętnej walki, grożącej nawet zbrojnym zatargiem. Szwecya, posiadająca wielką własność, z rozwijającym się przemysłem fabrycznym, hołduje polityce handlowo-protekcyjnej. Norwegia natomiast, kraj na wskroś chłopski, musi ciążyć ku wolnemu handlowi. Prócz tego zarówno przyczyny ekonomiczne jako też i cała historyczna przeszłość tworzyła w Szwecyi silną partyę zachowawczą, pielęgnującą tendencye monarchiczne. Norwegia natomiast, gdzie różnice klasowe są minimalne, jest krajem na wskroś republikańskim. Z biegiem czasu różnice powyższe zaostrzały się coraz bardziej. Konflikty między obu zjednoczonemi państwami mnożyły się wciąż, występując najsilniej w kwestyach polityczno-handlowych; wreszcie sprawa odrębnych konsulatów norwegskich streściła w sobie wszystkie dotychczas nagromadzone namiętności. Na pozór nieważna kwestya doprowadziła już do jak najostrzejszych zatargów i grozi jeszcze gorszemi konsekwencyami. Jedynem, trwałem rozwiązaniem tego sporu, który się dziś na półwyspie skandynawskim toczy, byłoby udzielenie całkowitej niezależności politycznej Norwegii.

Czyż jednak te i inne podobne przykłady miałyby wskazywać na niemożność innego rozwiązania kwestyi narodowościowych, jak jeno drogą zupełnej ich odrębności państwowej?

Tak, bądźmy otwarci i szczerzy. W dzisiejszych warunkach, pod panowaniem dzisiejszej cywilizacyi innego wyjścia nie ma i być nie może.

Połowiczność to grzech pierworodny naszej kultury. Podniosła ona do potęgi najwyższego dogmatu etyki społecznej zasadę narodowościową — a równocześnie stworzyła „Drang nach Osten“, „obrusienie“, „madjaryzację“ i inne podobne dążności szowinistyczne. Wypisała ona na swym sztandarze równość polityczną, a zarazem przyjęła hasła maltuzyanizmu: „świat i jego rozkosze jeno dla bogatych“. Ogłosiła ona za pierwszy warunek normalnego życia społecznego powszechne, obowiązkowe wykształcenie, — i w tymże samym czasie zrodziła zakazy nauki polskiego języka w Poznańskiem. I tak na każdym kroku. Wszędzie brak konsekwencyi, brak ścisłego stosowania raz uznanych prawd. Ale bo też zrodziła kulturę naszą walka o wolność po to, by innych wolności pozbawić, walka o władzę, by nad innymi panować. Sprzeczność była jej kolebką i cała też ona z setek sprzeczności się składa.

Również i ów dualizm państwowy jest jeno połowicznem rozwiązaniem kwestyi narodowości, a jako takie musi być ono niedostatecznem, musi posiadać zarodki rozkładowe, z których z biegiem czasu coraz gorsze konflikty, coraz ostrzejsze zatargi rodzić się muszą.

Czyż jednak obraz Szwajcaryi nie zatrzyma toku naszej myśli. Czyż kraj ten, w którym trzy większe, a parę jeszcze innych mniejszych grup narodowościowych w zgodzie i spokoju koło siebie żyje, — nie jest żywem zaprzeczeniem naszego poglądu. Nie, bo Szwajcarya nie jest dziś zlepkiem sztucznie połączonych organizmów państwowych, lecz jedną jedyną całością, ukonstytuowaną na zasadach szeroko pojętego federalizmu. Stosunek kantonu do związku w zasadzie niczem się dziś nie różni od stosunku gminy do kantonu. To też od r. 1848, gdy po raz pierwszy na zasadach tych wsparła się konstytucya szwajcarska, przestała być ona związkiem kantonów niemieckich, włoskich i francuzkich, lecz stała się federacyą dwudziestu paru jednostek administracyjnych zamieszkałą przez Francuzów, Włochów i Niemców. I od tej chwili wszelkie rewolucye, wojny kantonów z kantonami ustały raz na zawsze. Ów kraj ciągłych zaburzeń i zamachów stanu — stał się eldorado spokojnych, rozsądnych „b ü r g e r ó w“.

A możliwem się to stało tylko dla tego, ponieważ z upadkiem starego patrycyatu wielkich miast szwajcarskich zapanowała była na czas pewien stosunkowa przynajmniej równość ekonomiczna a z nią i tolerancya.

WŁADYSŁAW RABSKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(*Ciąg dalszy*).

WOLSKI.

Nikt? A Wisłowski? Znasz jego ambicyę i bezwzględność. Gdy te papiery spłoną i brat twój zwycięży, on całemu światu hańbę moją rozkrzyczy. Mamże kłam zadać jemu? Mamże z czelnością patentowanego oszusta wołać: Fałsz! gdy w twarz mi ciśnie słowo „Odstępca“? O! nie, Marto, rumieniec mnie zdradzi.

MARTA.

Znajdziesz wymówkę... Słowo twoje ma wagę olbrzymią... Powiedz, że na zeznania zdziecinniałego starca nie było żadnych dowodów. Powiedz... ja sama nie wiem... ale tobie uwierzą.

WOLSKI.

A sumienie moje? Myśl sama mózg mi rozsadza. Czy ty nie pojmujesz, że sztandar mój jest dla mnie tem i więcej nawet, czem dla ciebie krew, brat i ojciec. Chcesz, bym jak galernik, wypuszczony z więzienia, snuł się z czołem pochylonem po świecie, lękał się ludzi, lękał dnia białego, lękał kamieni przydrożnych. Nie! Jam za uczciwy na kłamstwo i zdradę.

MARTA.

To wasza logika. Jam nie pytała o dumę i uczciwość, gdym ciebie kochać zaczęła, i szłam, ścigana szyderstwem, do twego domu, gdzie mnie upokorzenia czekały. Świat, w którym wyrosłam, szydził z szalonej, a ten inny świat, ten twój świat, urągał hrabiowskiej demokratce. Wszyscy potępili, a jam się nie ulękła, bom w tobie świat mój widziała. Czyż uczciwie było zdradzić ojca i brata? A jednak zdradziłam. Za dom, w którym lata dziecinne spędziłam, za przyjaciół, którzy mnie ubóstwiali, za przekleństwo ojca i brata, za udręczenia, których w tym nowym świecie doznałam, za to wszystko, com opuściła dla ciebie, mnie się nagroda należy.

WOLSKI.

Hańby żądasz. To za droga cena.

MARTA.

Ty musisz mnie wysłuchać.

WOLSKI.

Miej litość! Nie mogę.

MARTA (*chwyta go za rękę*).

Zygmuncie! Ja równie dziś ciebie kocham jak wówczas, gdy przed ołtarzem szeptałam słowa przysięgi. Lecz nie rozdzieraj serca, bo krew jego zalać gotowa iskry miłości. Kocham cię, o! bardzo kocham, ale pamiętaj, dziś krok tylko od nienawiści mnie dzieli. Jestem żoną, to prawda, lecz córki i siostry nie zabijesz we mnie.

WOLSKI.

Puść mnie! Oszaleję chyba. To nie do mnie należy, (*potrząsa pliką papierów*) to dla ludu, to dla nich.

MARTA.

To dla mnie! Czyż ja już niczem nie jestem dla ciebie?

WOLSKI.

Ty sama nie wiesz, co czynisz. Odstępstwo moje byłoby chmurą dla szczęścia naszego, piołunem dla każdej pieszczoty. Upiór hańby stanąłby między nami i dniem bez słońca stałoby się życie.

MARTA.

Dobrze więc! Zatruj ostatnie chwile ojca mojego i katem stań się dla brata. Ale te dwie ofiary rozdzielą nas na zawsze i nic już nie złączy więzów starganych... nic! (*wybucha płaczem spazmatycznym*).

WOLSKI.

Nie błagaj łzami! Nie błagaj!

(*chwila milczenia.*)

MARTA.

Nie! ty nie odepchniesz (*zbliża się do niego*). Słuchaj! Ja ci coś powiem najdroższy (*półgłosem*). Dziś już nie żona tuli się do ciebie, to matka dziecka twojego.

Wszelkie bowiem tendencye uciemiężania, podbijania, tylko w materyalnych warunkach, w przewadze jednych warstw gospodarczych nad drugiemi źródło swe mieć mogą. Duchowych, etycznych przyczyn ujarzmiań, prześladowań jednych grup kulturnych przez drugie nie ma i być nie może. To też razem ze zmniejszeniem różnic ekonomicznych ustały i wszelkie dążności eksterminacyjne w zakresie życia kulturalnego.

Dla reszty Europy chwila taka jeszcze nie nadeszła. I dla Szwajcaryi minęła dziś ona na długi czas bezpowrotnie.

Nie będziem się wdawać w przewidywania przyszłości, czy i kiedy cała Europa ukonstytuuje się w jednę federacyę na wzór szwajcarskiej. Wiemy tylko jedno z pewnością, że, jeśli to ma kiedy nastąpić, możliwem będzie wtedy tylko, gdy zanikną wszelkie nietolerancye i prześladowania jednych kultur przez drugie. Póki zaś czas ten nie nadszedł jeszcze rozwiązaniem narodowościowych pytań może być jedynie zupełna niezależność państwowa narodowościowych organizmów.

Usuwając przytem jedną z tak licznych dziś połowiczności — tem samem toruje ona drogę dla rozwiązania wszystkich tych antynomii, które dzisiejsza cywilizacya w sobie kryje.

Str.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

O trzecim zjeździe katolickich nauczycieli Księstwa, mającym się odbyć w Poznaniu w dniach 3, 4 i 5-go czerwca r. b. taką wypowiada opinię „D z i e n n i k K u j a w s k i“ w Nr. 116:

„Język polski uwzględniony będzie tylko w nieurzędowej części programu, w urzędowej natomiast wyłącznie niemiecki. Niektóre z naszych gazet, zgorszone tem upośledzeniem polskiej mowy, wskazują na to, że Zjazd jako rzecz prywatna nie podlega przepisom ustawy o języku urzędowym z 1876 roku. Podział obchodu na część oficyalną i nieoficyalną mienią one przeto rzeczą zupełnie chybioną i domagają się używania polskiego języka we wszystkich czynnościach Zjazdu i na cały czas jego trwania od początku do końca.

Żądanie to jest nietylko w zasadzie, ale i formalnie słusznem. Zważywszy atoli drakońskie prądy dzisiejszej chwili, godzące z całą bezwzględnością w przedstawicieli szkoły polskiego pochodzenia z jakiegokolwiekbądź tytułu, nie sądzimy, aby pominięcie niemieckiego języka na Zjeździe było rzeczą fortunną. Przezorność jest w każdem położeniu cnotą wielkiej wartości, w smutnych zaś warunkach, w jakich nauczyciele polscy obecnie pozostają, ma ona wartość podwójną. Domagać się od bezbronnych i w kleszcze ujętych ludzi junakieryi — to jest występ nie bardzo pochwały godny.

Artykuły „G a z e t y G r u d z i ą d z k i e j“ w sprawie germanizacyjnych zakusów duchowieństwa katolickiego na Warmii i w Prusach Zachodnich, spowodowały „Kuryera Poznańskiego“ do ntyskiwań na brak uszanowania wobec kapłanów ze strony pisma polskiego.

Uwagi „Kuryera“ wywołały ze strony „G a z e t y G r u d z i ą d z k i e j“ następującą odpowiedź w Nr. 61:

„Obecnie mamy dosyć tego milczenia! Pokażemy, że pismo polskie może być szczere katolickiem, a swoją drogą może napiętnować każde nadużycie duchownych germanizatorów. To zresztą jest świętym obowiązkiem każdego uczciwego pisma katolicko-polskiego, bo nie na to ono istnieje, aby napełniać pieniędzmi kieszenie swego wydawcy, lecz na to, aby stać na straży naszych skarbów religijnych i narodowych, które przez germanizacyą w równej mierze są zagrożone.

Uważamy też, że koniecznie rzeczy po imieniu nazwać musimy. Gwałci ktoś np. nasze prawa narodowe, to jesteśmy zobowiązani, dokonany jego czyn nazwać „gwałtem“, a gdy dotąd o takiej działalności nie słyszeliśmy, powiemy, że to „niesłychany gwałt“. Trudno przecież dla tego, że ten ktoś będzie przypadkowo osobą duchowną, powiedzieć, że gwałt nie jest gwałtem.

Takiem postępowaniem czytelników naszych z pewnością nie zgorszymy, a postaramy się o to, że powodów do skarg będzie coraz mniej, co sprawie wiary naszej świętej tylko na korzyść wyjść może.“

Z powodu procesu sztumskiego takie wypowiada zdanie w Nr. 62 „G a z e t a G r u d z i ą d z k a“:

„Echa wypadków sztumskich nie powinny przebrzmieć bez dodatniego skutku, sprawy sztumskiej nie wolno nam popuścić, powinna ona się, jak to już raz wspominaliśmy, oprzeć o tron samego Ojca św.

Sprawą tą nie może się naturalnie zająć żaden z czcigodnych naszych duszpasterzy, powinien się nią zająć człowiek świecki. I nie dosyć wedle naszego zdania wszystko tylko pospisywać, lecz należałoby koniecznie zwołać wiec, na nim wypowiedzieć wszystkie żale i skargi i sprawozdanie z tego wieca posłać do Papieża.

Niech ten Ojciec nasz święty usłyszy jęk, łkanie polskiej piersi, tej piersi, która przez całe wieki była przedmurzem chrześcijaństwa, która przez całe wieki zasłaniała naszych współwyznawców na zachodzie od najazdów pohańców.

Niech ten Ojciec nasz najukochańszy się dowie, że dziś godzą w tę pierś ci, którzy powołani do kojenia ran, zadanych jej przez niegodziwość ludzką, i niech osądzi, czy godzi się tak z nami postępować, a jesteśmy przekonani, że Ojciec św. łaskawie wejrzy na okropne nasze położenie i obmyśli ulgę dla naszych cierpień“.

„Dziennik Poznański“ zamieścił korespondencyą z Berlina, z której dowiadujemy się, że Koło polskie odrzuciło na ostatniem posiedzeniu swojem wszystkiemi głosami przeciw jednemu wniosek posła Głębockiego o zerwanie z zasadą bezwzględnej tajności obrad. W tej sprawie zamieścił „G o n i e c W i e l k o p o l s k i“ (Nr. 121) obszerny artykuł, z którego cytujemy następujące ustępy:

„U nas nie obiera jeszcze posłów społeczeństwo — lecz mianuje ich grono notablów z większym lub mniejszym odłamem popleczników swoich. Dla tego tak mało mamy prawdziwych przedstawicieli ogółu, a tak wielu posłów honoris causa, którzy bez rzeczywistych zasług, bez aprobaty narodu funkcye poselskie wykonują, nie mając często nawet do tego potrzebnych kwalifikacyi — a pewni protekcyi notablów i części prasy, nie poczuwają się nawet do obowiązku zdawania sprawozdań wobec swych wyborców.

„Każdy nieuprzedzony widzi, że Koło sejmowe odgrywa tu rolę dyktatora. Wolno nam wybierać posłów, ale nie wolno nam się w to mięszać, co oni robią, jakie żywią przekonania — i czy zasługują na to, abyśmy ich powtórnie obierali.

My nie domagamy się bynajmniej rzeczy niemożliwych, nie chcemy być areopagiem dla Kół naszych poselskich, lecz żądamy, abyśmy o rzeczach zasadniczych mieli dokładne referaty chociażby po załatwieniu sprawy w parlamencie lub sejmie — żądamy, aby nam komunikowano, jakie posłowie nasi poszczególni zajmowali stanowiska wobec spraw dotyczących całego ogółu polskiego.

„W końcu zapytujemy: czy posłowie, pp. Jerzykiewicz i dr. Mizerski byli obecni na posiedzeniach, i dla czego ewentualnie głosowali przeciwko wnioskowi?

Ci dwaj panowie byli obecnymi na zebraniu wyborców miasta Poznania, powinni zatem byli przejąć się uczuciami obywateli, którzy jednogłośnie, bez opozycyi uchwalili rezolucyą do Kół polskich z prośbą o jawność w obradach — należało im być tłomaczem tych uczuć, tem więcej, iż poseł p. dr. Mizerski oświadczył na zebraniu, że reforma w sprawie jawności obrad jest mu bardzo sympatyczną i że życzenia nasze przedstawi kolegom w Berlinie.

Albo więc posłowie Jerzykiewicz i Mizerski w Berlinie nie byli, albo też ostatni z nich zapatrywanie swe zmienił i wniosku posła Głębockiego nie poparł.

Przyszłość to wykaże. Tymczasem czekajmy na to, co nam Koło sejmowe odpowie na naszą rezolucyą. Że przychylną nam ta odpowiedź nie będzie, o tem wiemy już po przyjęciu wniosku księdza Wawrzyniaka.

Tyle dzisiaj jednak z góry już da się przewidzieć, że do przyszłych wyborów musimy się należycie przygotować, aby nie obierać więcej posłami ludzi, którzy albo nas nie rozumieją, albo też zrozumieć nie chcą. Większość członków tak Koła parlamentarnego, jako i sejmowego — przykro nam to wyznać — zaufania naszego dzisiaj już nie posiada. Zawczasu tedy oglądajmy się za innymi posłami, bo z wyjątkiem grona mężów rzeczywistej zasługi i stałych demokratycznych przekonań, mamy w Berlinie manekiny, które może umieją rozróżnić krokodyla od aligatora — o zadaniu pracy i obowiązkach posła jednak nie mają pojęcia“.

Pod tytułem „Mieszczaństwo miasta Poznania“ zamieszcza „O r ę d o w n i k“ następujące uwagi:

„Weźmy wystawę samą. Wobec całego mieszczaństwa m. Poznania stanęło pytanie: jak się postawić? Rozumiemy bardzo dobrze, że bardzo zachęcającą rzeczą nie jest przesiadywać wieczory na posiedzeniach Towarzystw i patrzeć na ich robotę mrówczą i jednostajną, dla tego zmudną i nieraz nudną. Wystawa jednak podawała materyał specyalny. I też nic nie zrobiliśmy i nie zdobyliśmy się choćby na jedną schadzkę w którym z tych hoteli, do których jednak idziemy po ukazie, gdy nas menerzy z warstw wyższych ztrąbią. Przy

---

WOLSKI (*chwyta ją namiętnie w objęcia*).
Co?... Marto!

MARTA.
Zygmuncie! Dziś rano matką się poczułam.

WOLSKI.
Ptaku mój biały... jedyna!

MARTA.
Uczyń to dla dziecka naszego. Spal te dokumenty.

WOLSKI (*chwyta się za głowę*).
A!

MARTA.
O! nie odtrącaj Zygmuncie!

WOLSKI.
Czemu ty mnie tak męczysz? Oszaleję chyba.

MARTA (*stara się wydrzeć mu papiery*).
Spal te straszne papiery. Spal je, Zygmuncie.

WOLSKI (*słabnąc*).
Spalić... spalić... to straszne słowo.

MARTA.
Puść te papiery! (*wskazuje na kominek*) Tam... niechaj giną.

WOLSKI (*błagalnie*).
Marto! Marto!

MARTA.
Tam... tam... (*wiedzie go ku kominkowi. Wolski postępuje jak senny*). Puść, puść, to dla mnie, dla twojego dziecka (*usiłuje wydrzeć mu papiery*).

WOLSKI (*opiera się chwilę, następnie wypuszcza z ręki dokumenty.*) Zabij mnie!
(*w drzwiach staje Kostecki*).

MARTA (*radośnie*).
A! (*wrzuca papiery w ogień*) Tak! niechaj giną.

Scena IX.
Ciż i Kostecki.

KOSTECKI (*biegnie ku kominkowi.*)
Co się tu stało?

WOLSKI (*z przestrachem*).
To ty?

KOSTECKI.
Przychodzę po artykuł i testament Ruszczewskiego. Drukarze czekają przy maszynach (*chwila milczenia*).

MARTA.
Artykułu nie będzie. Niech pan rozpuści drukarzy.

KOSTECKI (*ostro*).
Żądam dokumentów. Córka Wareckich przecież nie rządzi Trybuną.

MARTA.
Panie Kostecki! Hamuj pan słowa swoje.

KOSTECKI.
My tu prostacy, nie uczeni jedwabnych zwrotów. Mówimy tak jak sumienie każe. — Panie redaktorze! żądam nie *twojej*, lecz *naszej* własności.

WOLSKI (*słabym głosem*).
Później... później... nie teraz.

KOSTECKI (*groźnie*).
Co? później? Gdzie są dokumenty?
(*chwila milczenia*).

WOLSKI (*z wysiłkiem*).
Tam! (*wskazuje na ogień*).

KOSTECKI.
Co? (*chwyta go za ramię*). Więc to prawda? Co uczyniłeś? Mów?

MARTA.
Listy były oszczerstwem, papiery sfałszowane.

KOSTECKI.
Mnie to mówicie? Mnie? Więc Trybuna zdradzona! Więc lud zaprzedany! (*do Wolskiego*) Podły! po trzykroć podły! (*wybiega*).

Scena X.
Wolski i Marta.

WOLSKI (*budząc się z odrętwienia*).
Co to było? Podły? (*wydaje przeraźliwy okrzyk boleści i rzuciwszy się w fotel pochyla głowę nad stołem, kryjąc ją w dłoniach*) Marto! Marto!

MARTA (*klęka u stóp jego.*)
Jedyny! odwagi!

WOLSKI (*podnosi się i znów zmęczony pada na fotel*).
Marto! Zabiłaś!

(Kurtyna spada).

ostatniej walce politycznej w Poznaniu po jednej i po drugiej stronie poświęcono bardzo wiele czasu, pracy i pieniędzy i starczyło nas na to; na zabranie się, celem narady nad wystawą nie poświęciliśmy nic, bo brak w Poznaniu warunków sił do wspólnego choćby chwilowego zebrania.

Weźmy Zjazd Przemysłowców, który się odbędzie niebawem w Poznaniu w lipcu. Prace przygotowawcze już są w biegu i obok Wydziału prowincyonalnego pracuje komitet lokalny na miejscu. Jak my się obywatele miasta Poznania wobec tego prezentujemy. Ciekawe tu widzimy zjawisko. Na czele Wydziału stoi — ksiądz; na czele komitetu lokalnego — ksiądz, w sprawach przemysłowych i w całem Poznaniu nie można znaleść dwóch ludzi, którychby można na te stanowiska postawić. Obaj księża oponowali przeciw temu wyborowi, sami wykazując niestósowność jego; ale lekarstwa na to nie było. Tajemnica tego wyboru leży także w tem, że przy komitecie lokalnym zwolennicy ruchu ludowego z swego grona nie chcieli wybierać prezesa, żeby bez potrzeby nie mieszać spraw społecznych z polityką; byliby chętnie wybrali kogoś z po za grona swego, ale niestety w którą stronę okiem się rzuci po za ruchem ludowym, tu w Poznaniu spotka się prawie zawsze zwyczajnego piona partyi dworskiej, albo kandydata na piona, bardzo rzadko kupca lub przemysłowca z głową i sercem na miejscu, który znowu z innych powodów sam się cofa. Więc z tej biedy postawiono — księdza!

Cośmy warci w Poznaniu!

Powiedzmy sobie otwarcie, żeśmy po trosze wszyscy winni; że brak nam sił, brak lepszego, jaśniejszego rozumienia rzeczy, brak nam ducha, tej iskry Bożej, co to z człowieka tworzy prawdziwego człowieka, brak nam przedewszystkiem ambicyi obywatelskiej.

Jest w Poznaniu ruch ludowy jak na początek chwała Bogu dość silny, który swą politykę buduje wyraźnie na fundamencie ekonomicznym. Jest małe gronko inteligencyi wyższej, która przez „Przegląd Pozn.“ z wielkiem poświęceniem mężnie i dzielnie szerzy zdrowe, postępowe poglądy w sprawach publicznych. Jest w Poznaniu drobny zastęp kupców i przemysłowców, bardzo inteligentnych, rozumiejących doskonale swoje obowiązki zawodowe i obywatelskie. Ich obowiązkiem w społeczeństwie jest tworzyć kapitały. Nikt nie będzie od nich żądał, żeby się rzucali w politykę i rychło rujnowali. Ale mogli i powinni zrobić - i to agitować, żeby innego ducha i inne poglądy w swoje sfery wprowadzić, żeby w swych sferach ambicyą obywatelską wywołać, której nie ma. To jest rzeczą konieczną, a wtedy dopiero, operując oddzielnie na tych trzech punktach, możemy ruszyć bryłę i mieszczaństwo nasze wprowadzić na rozsądne tory spraw ekonomicznych i politycznych“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ panslawistów słowiańskich wychodzący codziennie we Wiedniu „Parlamentär“, pisze p. t. „Ein Slavenkongress“, co następuje:

„Działając solidarnie, potrafi nawet nieliczna partya osięgnąć ważne rezultaty. Jak pożyteczną byłaby solidarność wielkiego organizmu, w którego skład wchodzą całe narody! Ta rzecz prosta już od dawna prowadzi nas do genezy idei kongresu słowiańskiego.

„Idea ta, gdyby ją praktycznie i zręcznie uchwycono, miałaby następstwa doniosłe, zrozumiana powierzchownie jako demonstracya jest ona bańką mydlaną, która szybko powstaje i szybko ginie.

Proste prawo asocyacyi sił wskazuje na myśl porozumienia się gruntownego pomiędzy Słowianami austryackimi, zmysł samozachowawczy uczy nas tego samego, wszystkie nasze niepowodzenia parcyalne przypominają nam ją ustawicznie.

„To porozumienie powinno być zupełne, powinno spoczywać na fundamencie niewzruszonym, z tej racyi więc należy mu przygotować drogę, określić granice ściśle, a potem działać konsekwentnie.

„Często podnoszono myśl kongresu słowiańskiego, atoli wykonanie tego zamiaru stawały na drodze niemałe przeszkody. Pora ku temu nie nadeszła jeszcze. Przesłanek należytych, gwarantujących powodzenie nie było. Dla tego też dobrze się stało, iż kongresu nie zwołano, że zamiar *in suspenso* pozostawiono. Idea największa rozbija się częstokroć pojęta połowniczo i nie w porę. Sytuacya musi się wpierw wyjaśnić należycie, jeżeli ma powstać zaufanie niezbędne ku działaniu.

„Dziś pozbyliśmy się wielu iluzyi, jedno tylko stało się pewnikiem: w pojedynkę idąc, niczego nie wywalczymy, potrzeba nam działania solidarnego.

Rząd dziś również stanowisko swe zmienił. Przekonał się dowodnie, iż uboczne układy z jedną lub drugą narodowością są zapychaniem tej lub owej dziury, gdy innemi woda dalej się leje. Rząd musiał nabrać przekonania, że potrzeba stworzyć całość harmonijną, usunąć krzyczące krzywdy jednej narodowości, ograniczyć przywileje drugiej.

„Również narodowości poszczególne muszą przyjść do przekonania, iż jest niezbędnem wzajemne zagwarantowanie sobie praw językowych.

„Idei słowiańskiej nie było dotychczas danem okazać się, iż jest czynikiem cywilizacyjnym, że właśnie świeżość ducha i wytrwałość rasy naszej są odpowiednim kitem budowy państwowej i najlepszą rękojmią zgodnego pożycia różnych narodowości.

„Działając w tym kierunku miałby kongres słowiański wszelkie dane wypadku dziejowego, stworzyłby dzieło, któreby zdołało oprzeć się burzom najgwałtowniejszym.

„Zadaniem głównem, ideą przewodnią kongresu będzie więc rozwój pokojowy wszystkich narodowości monarchii austro-węgierskiej.

* * *

„Bukowinski Widomosty“ organ partyi staroruskiej na Bukowinie tak pisze w artykule wstępnym zatytułowanym „Tretij Maj“ (Trzeci maj):

„Trzeci maj jest dniem jaśniejszym w historyi ruskiego ludu.

„Dzień ten jest pamiątką drogą wolności ludu po wiekowej ciężkiej niewoli. Powinien on rozgrzewać serce chłopskie nadzieją lepszej przyszłości, jeżeli chłop nasz pójdzie śmiało naprzód, a dla całej inteligencyi niechaj będzie trzeci maj zachęceniem ku nieustającej walce, podjętej dla dobra młodszego brata. Inteligencya ta niechaj pamięta, że chłop ruski to cały naród, że pracując dla ludu, pracuje dla narodu. Wyraz naród i lud mają u nas jedno znaczenie. Rusin ubrany po miejsku nie był nigdy swojemu ludowi panem, owe „państwo“ zaczyna się u nas wyrabiać w ostatnim czasie, licząc zapewne na to, że ujarzmić zdoła lud ciemny i nieoświecony. Oni to burzą lud nasz przeciw cerkwii i duchowieństwu, które przez wieki były stróżami moralności ludu ruskiego.“

* * *

Słowackie „Narodnie Noviny“ piszą p. t. „O veljkom nieszťasti naszich deti“:

„Rok szkolny zbliża się ku końcowi. Dla rodziców, żyjących w innych organizmach prawno-politycznych jest decydującem o ich zadowoleniu, gdy dziecko dobrze się uczy. Tego u nas nie ma. Tak, czy owak wiemy o tem, że dzieci słowackie do szkół uczęszczające są ofiarą systemu wynarodowienia, że ich się tam pozbawia tego, co każdemu człowiekowi jest najświętsze i najdroższe.

„Dziecko słowackie, chodzące do szkoły, oddane jest na pastwę madziaryzacyi, wrzucone do istnego piekła fałszu, kłamstwa i mąk duchowych. Słowackie dziecko na progu szkoły traci język macierzysty. Staje się tam przedmiotem szyderstwa, prześladowań, — język ojczysty jest mu balastem, powodem utrapień i biedy. Jedynym nielicznym wyjątkiem są u nas szkoły t. z. konfesyjne katolickie lub ewangielickie, ale tam tylko, gdzie nauczyciel jest człowiekiem dobrym i rozumnym, wiernym swojemu posłannictwu. W szkołach państwowych wśród ludności słowackiej idzie wszystko, od elementarza począwszy, po madziarsku. Nie ma w tych szkołach jedynej książki słowackiej. Dziecku odjętem jest pojęcie, że w języku macierzystym można czytać i pisać. Zatruwają naszym dzieciom pogląd na świat i życie, koszlawią jego młody rozum, zamykają duszę w klatce języka cudzego, pamięć przeciążają balastem wokabuł pustych, niezrozumiałych i zimnych, jak wiatr lecący nad gołem ścierniskiem.

Akt IV.

(Scena urządzona tak samo jak w akcie trzecim. W chwili podniesienia kurtyny zapala służąca lampę. Marta wchodzi drzwiami frontowemi w futrze i kapeluszu)

Scena I.

Marta i Frania.

MARTA.

Pan wrócił?

FRANIA.

Nie! proszę pani.

MARTA *(rozbiera się nerwowo)*

Byłaś w redakcyi?

FRANIA *(pomagając przy rozbieraniu)*.

Kwadransu nie ma jak wróciłam, ale pana nie znalazłam. Ludzi tam co nie miara, bo to wczoraj podobno było głosowanie, a każdy ciekawy, kogo wybrali. Co też to ludziom przyjdzie z takiej ciekawości? Jeszcze zimno i wiatr, że psa litość bierze wypędzić, a to zębami szczęka i na dworze czeka.

MARTA.

Listów nie ma?

FRANIA.

Jest jakaś kartka z redakcyi i list od pani Wadyńskiej.

MARTA.

Gdzie list? *(Frania bierze list z biurka i podaje Marcie. Marta rozdziera kopertę i czyta:)* „W tej chwili wróciłam z Wapnowic. List twój przeraził mnie do głębi. Przyjdę o godzinie 7. Melanja.“ *(rzuca list na stół)* Która godzina?

FRANIA.

Siódma dochodzi.

(Słychać dzwonienie.)

MARTA.

Melanja! *(do służącej)* Idź, otwórz.

(Frania wychodzi.)

MARTA *(sama)*.

Nie wrócił... Tu coś strasznego się dzieje.

(Wchodzi Melanja.)

Scena II.

Marta i Melanja.

MARTA.

Jesteś przecie. *(ściskają się)* Wiesz z listu mojego o wszystkiem. Dom cały w gruzy się rozpada.

MELANJA.

Czy Zygmunt w domu?

MARTA.

Nie jeszcze. Wyszedł w nocy i nie wrócił dotychczas. A wygląda tak dziko... milczący i ponury. Nie wiem, o czem on myśli, ale strach mnie ogarnia. Mów ty do niego, błagaj, ratuj!

MELANJA *(w rozdrażnieniu)*

Zawsze to samo! Ja władzy nie mam. Wiecznie was łączyć i wiecznie wiązać to, co w końcu zerwać się musi!

MARTA.

Nie mów tak! Sama już nie wiem, co się ze mną dzieje. Jakiś wicher porwał mnie w wir piekielny i nic już nie widzę, tylko strach, strach... ratuj nas Melanjo! ratuj go dla mnie!

MELANJA.

Dla ciebie? *(śmieje się przymusowo)* Czy może dreszcz miłosny sen ci odbiera i tęsknisz za panem Zygmuntem? *(z ironią)* Dobrze! Zaprowadzę go tam, *(pokazuje drzwi na prawo)* do ciepłego gniazdka, a potem cichutko stanę pod drzwiami i słuchać będę szmeru pieszczot waszych. Ja siostrzyczka dobra... ja anioł stróż! *(śmieje się)*

MARTA.

Com ja ci zawiniła, Melanjo? Ty inną jesteś jak dawniej. Mówisz tak dziwnie i tak dziwnie patrzysz. Wszyscy opuszczają, a on jak duch snuje się po nocach i taka straszna cisza dom ten zaległa, — to śmierć!

MELANJA *(z nagłym przestrachem)*

Śmierć? Co ty mówisz?

MARTA.

Od owej chwili słyszałam nieraz jak godzinami krążył po pracowni a nocą z domu wybiegał, choć wicher dął i skowyczał. Czasem w rozpaczliwej pieszczocie szyję jego oplotłam i ręce całowałam pokornie, a on bezprzytomnie powtarzał: „Zabiłaś!“ Nic więcej. Zrozpaczona i samotna, nie wiedząc, co począć, napisałam do ojca...

A potem idą w tem kłamstwie i fałszu dalej. Kiedy język przestaje być przeszkodą, kiedy dziecko nauczy się mowy cudzej kosztem przyrodzonych zdolności duszy, wówczas fałsz i kłamstwo wstępuje na stopień drugi, rozpoczyna się systematyczne odłączanie dziecka od narodu, od języka i poczucia narodowego. Jestto istotnie kradzieżą dusz i sumienia, jestto kradzieżą hurtowną.

„Wiele cierpieć musimy, wiele musi znosić lud słowacki goryczy, poniżenia i krzywdy. Były czasy, gdyśmy Słowacy gromadnie ponosili męczeństwo, gdy nas więziono, bito pałkami, wieszano, wypędzano. Wielu z nas traciło urzędy, chleb i cześć. Jednakże największymi męczennikami, najsroższemi ofiarami madziarskiej nietolerancyi i okrucieństwa są nasze dzieci słowackie.

„Każdemu z nas drogie i miłe wspomnienia lat dziecinnych, — wspomnienia te są punktem wyjścia jaśniejszych na życie poglądów w wieku późniejszym. Nasze dzieci słowackie tych wspomnień mieć nie będą, bo im zatruły je madziarski szowinizm, upokorzenia i męczeństwo...“ *D. K.*

LITERATURA I SZTUKA.

Majowe bzy.

Wieczór na niebie rozpostarł zmierzchy
I ginie słoneczny skraj,
Szarzeją sosien strzępiate wierzchy,
I maj na świecie,
Maj! Maj!
Rzucił na łąki barwne kobierce
I w szumach rozbudził gaj
I zbudził w piersiach uśpione serce,
Rozkoszny, okrutny maj!
Cisza w powietrznej zaległa toni,
Jak duchy białe mkną mgły,
Pełno świeżości i pełno woni
I wieją w około bzy.
Jakaż to piosnka gdzieś się odzywa?
Czy trwożny w gęstwinie ptak?
— To echo wspomnień dalekich śpiewa
Tak dziwnie i tęskno tak.
Ktoś na mnie woła dawnem imieniem,
Biedzże, czy cofnąć się mam?
— Nie! to plusk fali, rwącym strumieniem
Ginącej w przepaści tam!
Czuję dotknięcie znajomej dłoni
I naraz zbrakło mi tchu. —
— To lecą kwiaty dzikiej jabłoni,
Lecą i więdną na mchu. —
Za wodą pęki rosną wierzbiny
A w wierzbach — tyżeś to ty?! —
Płowe warkocze młodej dziewczyny,
W warkoczach wonieją bzy.
I poza mglistym, poza obszarem
Tych dwojga rzuca się cień,
Idą dłoń w dłoni, pod wiosny czarem,
W powiewie majowych tchnień.
— Nie! to srebrzysty promień miesiąca
Na złotej wierzbie się wprządł,
To wiatr gałęźmi w cieniach potrąca,
— Ów bez — tak dawno już zwiądł!
— — — — — — — — — — — — —
Potok się dzierzga światłem w oddali,
Na nim gwiazd bladych lśni rój,
Łódź płynie wartko po bystrej fali,
— Znikła —
Jak maj zniknął mój!

z Rekowskich
Felicya Szamowska.

Sąd Piotra Chmielowskiego
o dwóch poetach wielkopolskich.

Świeżo ukazało się w Petersburgu nowe dzieło Piotra Chmielowskiego p. t. „Współcześni poeci polscy“. W przekonaniu, że sąd znakomitego historyka literatury zainteresuje czytelników naszych, podajemy z dzieła tego, które uwzględnia tylko lirykę i epikę (o pisarzach dramatycznych autor zamierza osobną napisać rozprawę) *in extenso* dwa ustępy, dotyczące poetów zrodzonych i wychowanych w W. Ks. Poznańskiem:

I.

Józef Kościelski.

Józef Kościelski znany był w literaturze naszej przed r. 1883 z dwu dramatów historycznych, ogłoszonych w roku 1874: „Władysław Biały“ i „Arria“ potem dał się poznać z kilku sztuk, które w teatrze cieszyły się powodzeniem; to też łatwo zrozumieć przykrość, jaką czuć muszę, gdy mi o poezyach jego wydanych w Krakowie 1883 jako tom pierwszy, niepochlebne zformułować wypada zdanie.

Na karcie tytułowej tego tomu zaznaczył autor dwudziestoletni przeszło okres twórczej działalności swojej (rok 1861—1882), a zatem przedstawił się ogółowi nie jako początkujący, ale jako dojrzały już pisarz, z tą pewnością siebie, którą daje rozgłośne imię. Tymczasem w utworach tych roją się niedorzeczne pomysły, nielogiczne wyrażenia i niesłychanie liche rymy... Czytelnik musi tedy zadać sobie pytanie: czy autor obdarzony jest niepraktykowaną już dzisiaj naiwnością, czy też chciał zadrwić z łaskawych nabywców jego książki?...

Ażeby takie postawienie kwestyi nie wydało się impertynencyą zrobioną zdolnemu pisarzowi, proszę odczytać ustęp z „Dziejów serca“ na str. 175 i następnych.

Na tysiąc kwiatów,
Na ludzi sto (!)
Czyż jest wśród światów
Szczęśliwszy kto?

Dzisiaj jej miłość wyznałem:
Ona odrzekła: wiem o tem;
A gdy jej serca pytałem,
Odpowiedziało stukotem!

Albo proszę zauważyć nadzwyczajną skromność autorską w „Dedykacyi“ oraz dobór wyrażeń:

Żądano, abym śpiewał. Powiodłem marzeniem
W kraje wieczystych złudzeń; myśl trysnęła z czoła...
Myśli biły jak źródło, a jak potok słowa...
Com mówił, już nie pomnę, bom wduszył się cały.
W kraj, gdzie, między młodzieńczej pieśni
ideały

pęka w kawały. Pozbieraj drzazgi, spój je w całość jedną, a zawsze szczerba zostanie i otwarta rana.

MELANJA.

Do ojca?

MARTA.

Tak. Opowiedziałam wszystko, o strasznym testamencie Ruszczewskiego, o poświęceniu Zygmunta i błagałam o przebaczenie, o litość dla mnie, o pomoc, o kroplę miłości. I wysłuchali mnie, nie odepchnęli. Odebrałam wiadomość, że dziś wieczorem przybędą do miasta. Tak! oni przyjdą za chwilę, przycisną do serca, ale on... on... Melanjo! mów! co uczynić? Dzień cały szukam go napróżno.

MELANJA.

Byłaś w redakcyi?

MARTA.

Byłam dwa razy. Powiedziano mi, że Zygmunt ranną godziną wpadł na chwilę do biura, przerzucił depesze i rozporządził, aby mu ostatnie cyfry wyborcze tu do mieszkania przysłano. Potem zlecił redakcyę jednemu z pomocników i wyszedł. Był podobno bardzo blady. Wieczorem posłałam Franię raz jeszcze do Trybuny, a sama pobiegłam do księgarni Krausego, gdzie nieraz długie spędzał godziny. Napróżno! Był tam w południe, zapłacił rachunki i zniknął.

MELANJA.

Zapłacił rachunki? (*zamyśla się*) Co on zamierza?

MARTA.

Ciszej! Ktoś drzwi otwiera. To on! (*Biegnie ku drzwiom frontowym. Na scenie ukazuje się Wolski z włosem potarganym, w płaszczu zmoczonym i zmiętym.*)

Scena III.

Marta, Melanja, Wolski, w końcu Frania.

MARTA (*zarzuca mu ręce na szyję*)

Zygmuncie! nareszcie! (*tuli się do niego i płacze*)

WOLSKI (*rozplata jej ręce*).

Uspokój się. (*zdejmuje płaszcz i zwraca się do Melanii*) A! pani tutaj.

MELANJA (*podając mu rękę*).

Tak dawno nie widziałam pana.

WOLSKI (*bezdźwięcznie*).

Dawno... tak! bardzo dawno. Godzina wiekiem jest nieraz.

MARTA (*caluje go*).

Niedobry! opuściłeś mnie, a ja dzień cały łzami się karmiłam. Lecz teraz przy mnie zostaniesz, nieprawda, Zygmuncie?

WOLSKI (*odsuwa ją lekko*).

Są listy jakie?

MARTA (*smutnie*).

Jest kartka z redakcyi... tam na biurku.

WOLSKI (*biegnie do biurka i czyta*).

„Wisłowski 5200, Warecki 6400. Brak jeszcze czterech obwodów. Doniesiemy telefonicznie“. (*rzuca kartkę i mówi do siebie:*) 5200 i 6400. (*do Marty:*) Czy telefonowano z redakcyi.

MARTA.

Nic nie słyszałam. (*zbliża się do niego*) Zostaniesz na herbacie, nieprawda? Zobaczysz! (*sili się na ton wesoły*) Zgotowałam ci niespodziankę. Dziś nowe słonko dla nas zabłyśnie.

WOLSKI.

Gdyby ludzkie słońca były jak świece... (*zamyśla się a potem nagle zwraca się do Melanii*) Wierzaj mi Pani! Lepiej być kretem. Takie robaki śpią spokojnie. A my? Serce pęka w kawały. Pozbieraj drzazgi, spój je w całość jedną, a zawsze szczerba zostanie i otwarta rana.

(*Słychać gwar zmieszany za oknem.*)

MELANJA.

Co to znaczy? (*biegnie ku oknu*) Tłumy ludzi wracają z redakcyi.

(*Słychać dzwonek przy telefonie.*)

WOLSKI.

A! stało się. (*waha się chwilę, biegnie do telefonu i przykłada do ucha bębenek*) Kto tam?... Co słychać? (*wypuszcza bębenek z ręki i staje chwilę jak martwy.*)

MELANJA.

Czy co smutnego?

WOLSKI (*gorzko*)

Nie, Pani! Zięć i szwagier Wareckich spełnił swój obowiązek. Ciesz się Marto! Nowe słońce wschodzi... brat twój zwycięzył.

(*Wchodzi Frania.*)

FRANIA.

Pan Kostecki i pan Wisłowski.

WOLSKI.

Nemesis!

MARTA.

Nie przyjmuj! Czego oni żądają?

WOLSKI.

Pokuty mojej. (*do Frani*) Proś. (*Frania wychodzi. Wolski zwraca się do Marty i Melanji.*) Zostawcie nas samych.

MARTA.

Zygmuncie... oni...

(*Wchodzi Wisłowski i Kostecki.*)

WOLSKI (*do Marty*).

Proszę was... idźcie!

(*Melanja i Marta spoglądają niespokojnym wzrokiem na przybyłych, potem wychodzą drzwiami na lewo.*) (C. d. n.)

Stałaś ty...
Zbudziły mię oklaski. Pierś jak morze wrzała,
Gdy tuli w swe objęcia słońce zachodzące...
Łzę twoją, mojej pieśni świadczącą potęgę (!),
Wymowniej niż oklasków odgłos bezechowy,
O, pozwól, że podejmę jak klucz brylantowy, (Iza kluczem!)
By nim zawrzeć na wieki dziejów serca księgę.

Albo proszę posłuchać następnego oświadczenia się, które chyba w gronie dobrze podchmielonych wygłosić by się dało:

Precz z formami! Tyś kobieta,
Ja mężczyzna — kocham cię;
Wulkanicznych law podnieta
We mnie kłębi, w tobie wre.
Precz z formami! lawą żyłem,
Na wieczności mierząc dnie;
Cóż, że jutro będę pyłem?
Dziś jam bogiem — kocham cię.

Albo wreszcie zajrzyjmy choć na chwilę do kart, mieszczących balladę p. n. „Czary“ i zapoznajmy się z drobnymi jej okruchami, pewni, że i całość w tym samym napisaną stylu:

Rwała ziele
Przy kościele
Na nowiu
I w święconą
Wodę słoną
Je kładła,
Ani cała
Nie zadrżała
Ni zbladła.
W ręku skrzypki
A głos chrypki
Z ołowiu:
„Jam twój miły
Tam z mogiły
W pustkowiu.
„Dziś w mogile
Leżą w pyle
Niegnuśnie...
„W świetle bladem
Szedłem śladem
Gałązek.
„Czary liści
Niech oczyści
Nasz związek“:
I odchodzi,
Lecz zawodzi
Swym smyczkiem.

Nie będę już rozpowiadał czytelnikom ani o owem słowie, co to „gwoździem jest w trumnie marzenia“, ani o rozrzewniającym romansie czajki z ropuchą: dosyć chyba będzie powyższej antologii. Podobne tym wiersze drukował niegdyś ks. Baka dla pokazania, że nie darmo był profesorem poetyki, a potem Soter Rozbicki, spekulując na głupotę ludzką. Lecz jakim sposobem mogły one wyjść z druku w roku 1883?

Ażeby to sobie wytłómaczyć w sensie najprzychylniejszym dla autora, musimy przypuścić, że będąc chłopaczkiem pisywał wierszyki, które się rodzinie podobały; dorósłszy na młodzieńca wypalił raz i drugi zręczny toast, który współbiesiadnikom przypadł do gustu, bo był zastosowany do chwili, nie uspasabiającej, jak wiadomo, krytycznie, a przez to zrobił sobie sławę w kółku najbliższem. Ponieważ zaś życie prowincyonalne wiele wydawać musi ludzi sławnych, więc i tę jeszcze jedną przyjęto chętnie do grona. Przyjaciele i znajomi wpływami swymi wyrobili obiecującemu młodzieńcowi przystęp do redakcyj i starali się przytłumiać głos krytyki: młodzieniec dojrzewał na męża w przekonaniu, że należy do poetów, uznawanych przez milczącą krytykę, zebrał drukowane i niedrukowane rymotwórcze ćwiczenia, napisał na tytule: „Poezye“ i puścił w świat, zapominając o gramatyce, logice i estetyce. Dla utalentowanego młodzieńca przepisy składni są zbyt ciężkie, więc je odrzucił i będzie używał stale przyimka wśród, pośród, prócz z czwartym przypadkiem (noc zgasiła odblaski pośród wałów powoje, prócz zimne świateło gwiazd i t. p.), imiesłowu nasycony użyje z 2 przypadkiem (nasycona czczej apoteozy) słów z przeczeniem z 4 przypadkiem itd. Z rymami pozwoli on sobie poigrać, bo od czegoż reforma romantyczna, która rozpętała związanego orła i pozwoliła mu szybować jak zechce; więc też rymować będzie: ludzkość — módz kość; prawda — prawda, trąd-pień — zwątpień, błąd pić — zwątpić. A ponieważ tęskni „do snów kołyski“, więc z logiką i estetyką nie wejdzie w ścisły sojusz; „pojąc się szelestem prawd“, wplecie „zgrzyt we wieniec cierniowy“, a „bólem w szaleństwo zogromnieje“, lubo „baszt (!) zazdrość duch nie sięga“, ponieważ w piersi mu „czuwa anioł snów, jak święta od zwątpienia straż i uczy czytać ducha rdzeń“. Nauczony przez „anioła snów“ widzi przed duszą wszystkich tajni głębie“ i swojej „wielkości przed sobą nie tai“, wie nawet, jak się zdaje, „co głaz w kamiennej śni zadumie“. Lecz „anioł snów“ ma widocznie mądrość dziwnego rodzaju, bo oto uczeń powiada, że „by serce mogło się wznieść, musisz je grześć, musisz je zgnieść...“ — niewiast „modłę“ zamyka w trzech słowach: brać, słać (?), dbać (?), gdy męskimi godłami mają być „dać, stać, trwać“.

Rozszerzyliśmy się nad ujemną stroną poezyj Kościelskiego z powodu rażących, niemal potwornych błędów pomysłu i formy; nie chcemy jednak bynajmniej twierdzić, żeby wszystkie utwory w zbiorku zawarte tak dalece lichymi były. Żaden wprawdzie wiersz nie wznosi się nad mierność, ale jest kilka udatnych, a kilkanaście możliwych do czytania bez wstrętu. Dwie grupy wierszów zatytułowane: „Z gór“, „Z morza“ nie odbijają właściwych wrażeń; można nawet powiedzieć, że nie są z natury odczute, lecz z opowiadań i czytania obmyślone, lub wymarzone: ale zawierają parę utworów znośnych jako to: „Głosy dwóch epok“, „Anakreontyki w górach“, „Rozbitek“. W dziale „Dziejów serca“ bardzo zręcznie odtworzono złudę „oczarowanego“ kochanka, który w każdej pozie kochanki, w każdem jej słowie i w każdym ruchu widzi samą doskonałość. Wiersz „Do ptaszki“ odznacza się rzewną tęsknotą bez przesady sentymentalnej. Ironia dobrze użyta cechuje wiersz „Bez serca“, przypominający niektóre liryki Heinego. W końcu dodane są przekłady z Horacego, Goethego, Heinego, Grüna, Puszkina, Longfellowa, Musseta. Tylko kilka pieśni Heinego (VII, XIV, XVI), za dobre uważać można, z Horacego i Goethego są niezłe, inne całkiem liche, zarówno pod względem układu wierszy, jak i oddania myśli. Taka jest treść seryi pierwszej „Poezyi“ Kościelskiego: oceniając jej wartość, nie przesądzamy naturalnie znaczenia dalszych, jeżeli kiedy nastąpią.

Przypisek redakcyi: Poczuwamy się do obowiązku nadmienić, że krytyka powyższa wydaje nam się nadto bezwzględną. W pierwszym tomie poezyi Kościelskiego znajdują się obok wielu rzeczy słabych, często przebłyski prawdziwego talentu, który w późniejszych utworach, a mianowicie w pięknych „Melodyach biblijnych“ złożył dow[illegible]ewnej siły i dojrzalszej formy.

II.

Jan Kasprowicz.

Jan Kasprowicz już przy pojawieniu się pierwszego zbiorku swych „Poezyi“ (r. 1889, Lwów) miał sobie przez T. T. Jeża przyznaną „fizyognomię odrębną“ wśród poetów spółczesnych, odrębną mianowicie pod względem treści, gdyż w niej odczuł twórca „Wasyla Hołuba“ oddźwięk tych tęsknot, bólów i skarg, „jakie stanowią istotę życia ludów w niewoli“.

Spostrzeżenie Jeża było trafne; musi być tylko bliżej określonem. Tęsknot, bólów i skarg w poezyi naszej wieku XIX nie brakło; owszem jak z konieczności położenia narodowego wynikało, było ich w niej pełno. Co więcej, nawet ta specyalna sfera cierpień, jaka się w losie ludu uwydatniła, miała także w poezyi przedstawicieli swoich, choćby jeno Goszczyńskiego i Berwińskiego przypomnieć.

Ale ci poeci dla przedstawienia niedoli ludowej albo brali wyjątkowe postaci i wypadki, albo też dla propagandy idei demokratycznej wystawiali lud jedynie jako niewinną ofiarę gwałtów, nadużyć, czy w ogóle bezprawia. Inni

---

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M W.**

(Ciąg dalszy.)

— Szczęśliwy człowiek, nie gryzie go widocznie żadna troska. Śpi sobie w najlepsze — myślał z gniewną zazdrością Brechunow, spoglądając przez tylną poręcz sanek na okrytego grubą warstwą śniegu Nikitę.

Wstając tak i znowu się kładąc ze dwadzieścia może razy, Brechunow myślał z rozpaczą, że noc ta chyba się nie skończy.

— Niedaleko być już musi do rana — szepnął nakoniec znowu się podnosząc i rozglądając dokoła. Trzeba spojrzeć na zegarek. Zmarznę wprawdzie rozpinając futro, ale weselej mi będzie, skoro się przekonam, że wnet świtać zacznie. Weźmiemy się do zaprzęgania.

— Brechunow w głębi duszy wiedział, że świt nie może tak zaraz rozbłysnąć, ale trwoga ściskała go coraz silniej w swych kleszczach i dla tego chciał zarazem przedłużyć złudzenie i sprawdzić swoje domysły. Rozpiął więc ostrożnie haftki futra, wsunął rękę za nadrze i długo nią wodził nim sięgnął w kieszonkę kamizelki. Z wielką trudnością wyciągnął nareszcie srebrny, ozdobiony emaljowanemi kwiatkami zegarek i podniósł go do oczu. Bez światła wszelako niczego dojrzeć nie mógł. Położył się więc znowu plackiem jak wówczas, gdy chciał papierosa zapalić. Ale teraz wziął się z większą wprawą do rzeczy: namacał zapałkę, która miała największą ilość fosforu i od razu ją zapalił. Zbliżając zegarek do światła, spojrzał i własnym oczom nie chciał wierzyć... Było dopiero dziesięć minut po dwunastej. Całą noc jeszcze miał przed sobą.

— Ach, długa noc! — westchnął Brechunow, czując zimny dreszcz, przebiegający mu po ciele, a potem zapiąwszy futro, otulił się, jak mógł najlepiej i wcisnął w kąt sani. Nagle z poza jednostajnego szumu wiatru dał się słyszeć wyraźnie jakiś drgający dźwięk. Dźwięk ten natężał się stopniowo, a doszedłszy do zupełnej wyraźliwości, zaczął słabnąć. Żadnej nie mogło być wątpliwości, że to wyje wilk. A znajdował się on tak blisko, że pomimo wiatru wybornie można było rozróżnić, jak poruszając szczękami, zmieniał dźwięk głosu. Brechunow odwinął kołnierz, wsłuchując się z całą uwagą. Z niemniejszem natężeniem słuchał i gniadosz, a gdy wilk skończył swój pasaż, koń przestąpił z nogi na nogę i parsknął ostrzegająco. Po takiej muzyce Brechunow nietylko już nie mógł zasnąć, ale i uspokoić się. Pomimo wszelkich wysiłków, aby myśleć o spekulacyach, interesach, o swej sławie, znaczeniu i bogactwie, nie mógł zapanować nad strachem, który coraz bardziej nim owładnął — i pod nad wszystkiem górowała, do wszystkiego się mięszała myśl dla czego nie został na noc w Gryszkinie.

— I co mi tam po tym lesie, wszak i bez niego dzięki Bogu interesów nie brak. Hej trzeba było nocować — mówił sam w duchu. — Pijani ponoś zamarzają z łatwością, a ja pił nie mało.

I badając samego siebie, czuł, że zaczyna drżeć, chociaż nie umiał zdać sobie sprawy dla czego drży; z zimna, czy obawy. Próbował otulić się znowu i leżeć jak przedtem, ale nie był w stanie tego uczynić. Nie mógł pozostawać ani chwili w spokoju, coś go podnosiło, coś pchało do przedsięwzięcia czego bądź, byle tylko stłumić strach, który go ogarniał i wobec którego czuł się bezsilnym. Wydostał znowu papierosy i zapałki, ale tych ostatnich pozostało mu już tylko trzy i to najgorsze. Jakoż wszystkie trzy starły się, nie wydając ognia.

— Ha, przeklęta, zgiń — przepadnij, żeby cię djabli porwali! — wymyślał Brechunow, sam nie wiedząc kogo przeklina i cisnął ze złością zmięty papieros. Zamierzał na razie cisnąć w ślad za nim i pudełko od zapałek, ale

zaś, jak Bohdan Zaleski i Lenartowicz, wybierali same sympatyczne rysy charakterystyki ludu, chcąc za ich pomocą zjednać serca inteligencyi, przejąć je współczuciem dla smutków i nieszczęść, a uwielbieniem dla dobroci i poświęcenia, odwagi i bohaterstwa wśród mas ludowych.

Jednem słowem dawniejsi poeci, z wyjątkiem Goszczyńskiego, malowali lud idealistycznie, a ci, co w naszych już czasach ten sam temat wzięli do obrobienia (Asnyk, Konopnicka i inni) poszli w ich ślady. Kasprowicz dopiero odrzucił wszelką sentymentalną, czy humorystyczną idealizacyę i zaczął traktować lud realistycznie w swych poezyach, jak Jeż, Sienkiewicz, Sewer, Prus, Dygasiński w swych powieściach i nowelkach. Kocha on lud całem sercem, „świętym“ go nawet nazywa, ale znając wybornie zarówno zewnętrzną stronę jego bytu jak i jego duszę, nie myśli go bynajmniej wyodrębniać pod względem moralnym od reszty ludności, lecz owszem, uwydatnia, że w nim takie same są uczucia, i takie same obłędy, takie same pożądania i namiętności, takie same rysy usposobienia i charakteru, jak w innych klasach narodu, tylko się w odmiennych przejawiają formach z powodu odmiennego stopnia kultury.

Cienie gęściej są nawet rzucone w jego utworach, aniżeli jasne smugi. Czy weźmiemy pierwszy zbiorek poezyi pod uwagę, czy ostatni: „Anima Lachrymans“ (1894 Lwów), czy też dramat „Świat się kończy“, wszędzie spotykamy się ze złośliwością, z chciwością, rozpustą, a nawet zbrodnią, czasami w kilku naraz przedstawicielach, gdy postacie i uczucia dodatnie w drobnych zaledwie występują rolach. Przypomnijmy sobie tylko najogólniejszą treść opowiadań, zawartych w „Anima Lachrymans“.

„Król Lear z Biedaczewa“ — to obraz twardego serca i zupełnego wyzucia się z uczuć rodzinnych. „Maciej Kosarczyk“ — to przykład bezlitośnego postępowania ojca względem córki, która zbłądziła (co przypomina jeden z motywów dramatu „Świat się kończy“); „Marcin Szafran“ — to znów przykry okaz pijaka, który z powodu swej brzydoty stał się przedmiotem szyderstw ze strony dziewcząt wiejskich. W „Hance Olpińskiej“, obok matki, poświęcającej się dla lepszej przyszłości syna, mamy wizerunek pijaka ojca, i idącego za nim z biedy potomka.

Nie myślę bynajmniej pochwalać wyboru takich tylko tematów, nie jestem zwolennikiem pessymistycznego przekonania, że więcej na świecie wątrób, niż serc; nie uważam też owych opowiadań za rzeczy piękne; zastanowiłem się nad niemi dla tego głównie, ażeby charakterystykę sposobu patrzenia na życie ludu u Kasprowicza wydobyć i zarazem zaznaczyć, że jest to niewątpliwym dowodem wzmożenia się idei demokratycznej u nas, gdy jeden z przedstawicieli kierunku ludowego, człowiek lud prawdziwie kochający, nie wahał się uwydatniać stron ciemnych w charakterze tego ludu; znaczy to bowiem, że lud ten kochamy wraz z jego wadami, tak samo, jak kochamy w ogóle naród, chociaż różnym jego klasom wiele mamy do zarzucenia.

I to jeszcze przytem zauważyć warto, że o istnienie tych ciemnych stron w życiu ludu poeta nie obwinia innych warstw społeczeństwa, jak to było we zwyczaju bardzo długo. Nie pochlebia on tym warstwom, wytyka im zdrożności, ale za każdą wadę, za każdą zbrodnię chłopa nie stawia pod pręgierzem jakiegoś surdutowca, owszem, wspominając o czasach nawet dawniejszych, o czasach pańszczyźnianych, nie bał się nakreślić sylwetki „Jana Rudawskiego“, który, choć szlachcic, był rzeczywistym bratem wieśniaka i miłość sobie jego pozyskał.

Jest więc Kasprowicz śpiewakiem głównie niedoli ludu, wyczekującym świtu nowej doby w losach ludzkości i narodu, ale nie wnoszącym fermentu nienawiści względem warstw innych, gdyż pewnym jest, że przyszłość bądź co bądź do ludu należeć będzie. Najpiękniejszemi utworami, w którym niedola wzruszyć musi każdego, mającego uczucie ludzkie, są: „Rumianek“ (śmierć chłopskiego dziecka) i „Na rozdrożu“ (sponiewierana dziewczyna wiejska). I forma tych lirycznych obrazków jest pełna świeżości i oryginalności.

Wskazawszy to, co w poezyach Kasprowicza uważam za część najbardziej znamienną i oryginalną, przejdę już krótko te utwory, w których poeta podąża wraz z innymi współczesnymi po szlakach już utartych. I tu również najwydatniej dźwięczy wyraz bólu i cierpienia, usymbolizowany w samym tytule najnowszego zbiorku poezyi Kasprowicza: „Dusza płacząca“. Boleje piewca nad marnością wysiłków, nad słabością woli, nad ciężkiemi warunkami bytu. Czasami pojawi się odbłysk Baudelairowskiej ironii gorzkiej i piekącej, jak np. gdy mówi o losie literata na bruku lwowskim („Batjar“), albo o palącej, jak zgaga, miłości ulicznej (Venus vulgivaga“). Nie popada jednakże peeta ani w sceptycyzm, ani w krańcowy pessymizm. Wyznaje on bowiem tę krzepiącą zasadę, że „jak ruda w ogniu znajduje oczyszczającą potęgę, tak człowiek w boleści“, każe nawet tej boleści błogosławić i nie otwierać wnętrza dla rozpaczy, osłabiającej ducha. Nadzieja lepszych dni podtrzymuje w nim siłę wytrwania, a zapał wieku młodzieńczego, nie tłumiony widokiem bezprawia i nikczemności ludzkiej, nie ostudzony wyziębieniem serca, każe mu wierzyć, że „promień życiodajnej wiosny lśni się dokoła“, a „śmierci zuchwała potęga“, co „niszczy bytu szlachetne zarody“, złamaną została, albo też złamaną być może, jeśli tylko męztwo i dzielność dawna wrócą do dusz, które chciano do służalstwa nagiąć. Cały cykl poezyi, objętych ogólnym napisem: „Z areny publicznej“ tętni otuchą „majowego świtu“; i budzi ospałych, rozleniwionych do życia w duchu narodowym.

Wobec tak silnego przejawu pełni zdrowia wewnętrznego, muszą być uważane za przemijające tylko zboczenia z wytkniętej drogi, za chwilowy nastrój jedynie, te pessymistyczno-panteistyczne westchnienia do „słodkiej zwiastunki“ spokoju i ciszy — do śmierci, jakie najwymowniej znajdujemy wypowiedziane w symbolicznym utworze p. t. „Maryan Olchowicz“. Być może, ból jakiś doraźny, rozjątrzony rozmyślnem weń wpatrywaniem się i zasilany lekturą dawniejszych i spółczesnych pessymistów, wylał się w tym utworze pełnym uniesienia i fantazyi; lecz niewątpliwie nastąpiło potem ukojenie, z którego wypłynęły poezye, tchnące otuchą i zachęcające do życia, nie do śmierci. A chociaż „Maryan Olchowicz“ kończy najnowszy zbiorek poezyi, nie jest przecież ostatnią ich pieczęcią; dostał się on na to miejsce albo przypadkowo, albo też dla zharmonizowania wspólnego tytułu („Dusza płacząca“), odnoszącego się właściwie do jednego tylko działu, — z całością książki.

Tak sobie wyjaśniamy ten okrzyk cierpienia i to pragnienie bezwzględnej ciszy; a że to nie jest dowolnością z naszej strony, o tem świadczą utwory „Z areny publicznej“, jak nie mniej piękny poemacik, z biblii zaczerpnięty, a do naszego położenia narodowego przystosowany „Ezechiel“. I dla tego widzimy w Kasprowiczu jednego z tych poetów młodszego pokolenia, którzy otrząsając się z wpływów Byrona, Musseta, Heinego, Baudelaire'a (zestawiam te nazwiska obok siebie dla zwięzłości tylko) zdrowie i uczucia i zdrowię myśli przenoszą nad patologiczne objawy wyczerpanego organizmu, którzy swoje cierpienia jednostkowe podporządkowując cierpieniom mas, szukają dla nich ulgi nie w negacyi życia i przyszłości, lecz w stwierdz niu nadziei, że, mimo wszystko, lepiej być może. Sam on napisał dawniej w wierszu programowym: „Oni i my“ następne słowa określające jego pogląd na zadanie poezyi w chwili obecnej:

Pragniemy w sztuce hartu, siły, woli,
Pragniem postaci energicznych, bitnych,
A nie ginących w smutnej melancholii.

---

powstrzymał ruch ręki i wsunął je w kieszeń. Ogarnął go taki niepokój, że nie mogąc już dłużej wytrzymać, wyskoczył z sanek, zwrócił się plecami do wiatru, odwiązał pas i zaczął go znowu silnie a nisko zawiązywać.

— I poco mam leżeć, oczekując śmierci, kiedy mogę dosiąść konia i w drogę ruszyć — przyszło mu nagle do głowy. — Podemną samym bez sanek i woźnicy, koń przecież nie ustanie. Dla niego — zwrócił się myślą ku Nikicie — śmierć nie straszna. Jakie tam było jego życie — nie będzie miał czego żałować. A ja, dzięki Bogu, mam jeszcze po co żyć na świecie.

I odwiązawszy konia, zarzucił mu cugle na szyję i chciał go dosiąść, ale osunął się ponownie na ziemię. Więc stanął w saniach, aby stamtąd wskoczyć na gniadosza, ale sanie przechyliły się pod jego ciężarem i próba znowu się nie udała. Za trzecim razem nakoniec podprowadził konia tuż do sanek, wspiął się ostrożnie na brzegu i tyle dokazał, że padł plackiem w poprzek końskiego grzbietu. Wypoczawszy w tej pozycyi przez chwilę, podał się naprzód raz i drugi, aż przerzucił w końcu nogę przez grzbiet konia i siadł, wspierając stopy w braku strzemion na dolnych rzemieniach uprzęży. Pchnięcie rozkołysanych sani przebudziło Nikitę, który wstał i — jak się wydało odjeżdżającemu mówił coś do niego.

— Dobrze wyszedłem, słuchając was, głupców, ale dłużej słuchać nie będę. A cóż to, mam ginąć nie wiedzieć po co i za co? — odkrzyknął Brechunow, zapychając pod kolana poły rozwiewającego się futra, poczem zawrócił konia i popędził go w kierunku, gdzie — jak przypuszczał — powinien był znajdować się las i leśniczówka.

Nikita, jak siadł okryty płachtą za tylną poręczą sani, tak siedział nieruchomy. Jak wszyscy, którzy zżyli się z naturą i nieraz w życiu zaznali nędzy, Nikita mógł spokojnie i cierpliwie wyczekiwać przez całe godziny, a nawet dni, nie doświadczając ani trwogi, ani podrażnienia. Słyszał on wybornie, jak gospodarz go wołał, ale nie odezwał się umyślnie, nie chcąc się poruszać. Myśl, że nietylko może umrzeć tej nocy, ale podług wszelkiego prawdopodobieństwa i umrze z pewnością, przyszła mu do głowy, gdy się sadowił za saniami.

Aczkolwiek ciepło mu jeszcze było od wypitej herbaty i natężonego ruchu, któremu się oddawał, łażąc po zaspach, wiedział jednak, że ciepła tego starczy nie na długo i że rozwinąć go znowu za pomocą ruchu nie będzie już w stanie, gdyż czuł się zupełnie wyczerpanym, tak wyczerpanym jak koń, gdy ustaje i musi dostać obroku, aby módz dalej pracować. Na domiar złego noga, na której miał podarty but, zziębła, a w wielkim palcu stracił już zupełnie czucie. I w całem zresztą ciele odczuwał coraz ostrzejsze, coraz dokuczliwsze zimno.

Myśl, że nie doczeka już następnego poranku, nie wydała się mu zbyt przykrą, ani zbyt straszną. Nie wydała się mu zbyt przykrą, bo całe jego życie nie było wesołem świętem, lecz przeciwnie ciągłą, nieprzerwaną służbą, która zaczynała go już nużyć. Nie zbyt straszną wydała mu się ta myśl dla tego, że oprócz gospodarzy takich, jak naprzykład Brechunow, którym służył na tej ziemi, czuł nad sobą głównego gospodarza, który go przysłał na ten świat i wiedział, że umierając przejdzie pod rozkazy tego gospodarza, a on nie skrzywdzi.

— Smutno porzucać to, do czego się przywykło, z czem się zżyło. Cóż robić jednak, trzeba i do nieznanych rzeczy przywykać.

— Grzechy? — przemknęło mu przez głowę, budząc wspomnienia pijaństwa, przepijanych pieniędzy, krzywd, wyrządzanych żonie, przekleństw, niechodzenia do cerkwi, niezachowywania postów i tego wszystkiego, co mu wyrzucał pop na spowiedzi. — Grzechów nie brakło w mojem życiu, ale czy to ja sam o nie się ubiegałem? Takim już widocznie Bóg mnie stworzył. Więc choć i były grzechy, dokądże się podzieję?

W ten sposób zastanawiał się Nikita nad tem, co mogło go spotkać tej nocy i rozstrzygnąwszy w sposób powyższy tę kwestyę, oddał się myślom i wspomnieniom, które cisnęły się mu do głowy. Przypomniał sobie przyjazd

Nawet i wtenczas, gdy leżą w spokoju,
Chcemy w nich widzieć chęć czynu i boju!
O, tak! my cenim piękno, lecz ze życiem
W nierozerwalnej będące harmonii,
Za romantycznem nie gonimy kwieciem
I egzotycznej nie pragniemy woni.
Nasza poezya — echem cierpień ludów,
Pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni.
Nasza poezya bez wizyi i cudów
Dzisiaj pobudką do czynów i męstwa,
A jutro — jutro oddźwiękiem zwycięstwa!

Z większych poematów, w których Kasprowicz, programowi wierny, cierpienia ludów odmalował, wymieniam Chrystusa (Lwów, 1890). Pracuje też on nad wykończeniem obszerniejszej opowieści wierszem z życia chłopskiego p. n. Wojtek Skiba, z której wyjątki pomieściło Ateneum. Częściowo też w czasopismach ukazały się fragmenty z poematu p. t. Miłość.

Strona zewnętrzna poezyi Kasprowicza była z początku zaniedbana nieco, szorstka, twarda; lecz autor, walcząc z trudnościami w przekładach z obcych poetów wyrobił sobie następnie dużo swobody i łatwości, nie pozbywając się siły i energii wyrażenia. Gdyby nie konieczność pracy dziennikarskiej na chleb, byłby Kasprowicz najpłodniejszym z naszych spółczesnych poetów.

Józef Szafarzyk.

W stuletnią rocznicę urodzin.

Dnia 13 maja roku 1795 urodził się w Kobielarowie, w Słowacyi, Paweł Józef Szafarzyk. Porówno z Janem Kollarem i Amosem Komeńskim, nie jest Szafarzyk Czechem w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, ale Słowakiem.

Czeski miesięcznik naukowy „Oświeta“ (nasze „Atheneum“) umieścił w zeszycie majowym obszerne o Szafarzyku studyum, pióra wnuka jego dr. Konst. Jireczka. Autor tak ocenia działalność tego niepospolitego męża: „Znakomity Słowak z komitatu gemerskiego był założycielem slawistyki; pracował i żył w czasie, gdy żadnych nie było prawie pracowników przed nim, gdy badacz rzeczy słowiańskich zmuszony był sam wyszukiwać źródła, kiedy rezultaty badań mało znajdowały uznania w nader szczupłem gronie inteligencyi słowiańskiej, a jeszcze mniej poparcia lub zachęty. „Starożytności słowiańskie“ i „Słowiański Narodopis“ są jego głównemi dziełami, godnemi pamięci wiecznej, pierwszym obrazem krytycznym najstarszych dziejów słowiańskich, pierwszem oznaczeniem ścisłem siedlisk i narzeczy wszystkich narodów słowiańskich; on pierwszy wydał biografie św. Cyryla i Metodego, opisy najstarszych pomników słowiańskich, z jego ręki wyszły pierwsze edycye krytyczne pamiątek staroserbskich. Obok tego jest autorem wielu prac lingwistycznych, położył wiekopomne zasługi około języka czeskiego i literatury czeskiej. Cichy i skromny odznaczał się wiedzą gruntowną, pilnością, przedsiębiorczością i energią nieprzebraną. Szafarzyk byłby więcej dokonał, ale w wykonaniu wielu rzeczy przeszkadzały mu nieszczęścia i zawody doznawane w życiu...“

Paweł Józef Szafarzyk był synem pastora słowackiego, odbywał studya gimnazyalne w Różniawie i Dobszynie, następnie studyował w Jenie. Na uniwersytecie jenajskim zawarł znajomość z patryotami czeskimi: Kollarem, Palackim, Jungmannem, Hanką i innymi. Wychowany w gimnazyum niemieckiem nie miał poczucia narodowego, dopiero czytanie prac Jungmanna i Dobrowskiego obudziły w nim świadomość narodową. W roku 1819 powołano go na urząd dyrektora gimnazyum serbskiego w Nowym Sadzie. Okoliczności tej mamy do zawdzięczenia zaznajomienie się Szafarzyka ze Słowiańszczyzną południową. W roku 1833 musiał posadę tę opuścić dla ciągłych szykan oraz podejrzeń ze strony władzy węgierskiej i przenieść się do Pragi. Tutaj wyrobiło mu szczupłe grono patryotów czeskich — głównie za staraniem Palackiego — roczną pensyjkę wysokości 480 złr., pod warunkiem atoli, że pisywać będzie po czesku. Chcąc jako tako wyżyć musiał Szafarzyk uciec się do wydawnictwa pisma ilustrowanego „Swetozar“, wychodzącego dotychczas, musiał również przyjąć niezaszczytny urząd cenzora. Po kilku latach pobytu w Pradze, sława jego jako uczonego stała się tak wielką, iż uniwersytety w Petersburgu, Berlinie i Wrocławiu ofiarowały mu katedry. Szafarzyk wezwaniom tym odmówił, chciał bowiem mieszkać w Pradze.

W roku 1848 stosunki materyalne Szafarzyka znacznie się polepszyły. Mianowano go członkiem Akademii Umiejętności w Wiedniu, zrobiono profesorem lingwistyki na uniwersytecie pragskim. Katedry się zrzekł, gdy mu ofiarowano posadę bibliotekarza uniwersyteckiego. Wkrótce atoli zapadł ciężko na zdrowiu. W liście pisanym wówczas do rosyjskiego uczonego Pogodina pisze, że staje się nerwowym, że traci pamięć i wzrok. Choroba duchowa i zniechęcenie do życia tak nim owładnęły, że dnia 23 maja r. 1860 wyszedłszy niepostrzeżenie z domu, udał się na most i r[illegible] zeń w zamiarze samobójczym do wody. Od śmierci go wyratowano, ale umarł rok po tym wypadku dnia 26 czerwca 1861.

Działalność naukowa i literacka Szafarzyka obejmuje trzy działy: poetyczny, historyczno-archeologiczny i lingwistyczny. Do działu pierwszego zaliczamy zbiór poezyi, pisanych w narzeczu słowackiem, tłomaczenie Szylerowskiej tragedyi „Maryi Stuart“, oraz liczne tłomaczenia klasyków greckich i rzymskich.

Dział historyczno-archeologiczny obejmuje dzieła najważniejsze. Pierwszą pracą w tym kierunku, którą Szafarzyk zwrócił na siebie uwagę powszechną, była ocena dzieła polskiego historyka Surowieckiego (Ueber die Abkunft der Slaven nach Lorenz Surowiecki). Najważniejszem dziełem Szafarzyka, które wyszło u nas w Poznaniu w r. 1847 w polskim przekładzie są „Starożytności Słowiańskie“. W roku 1848 przetłomaczono je i na język rosyjski i niemiecki. Z innych prac posiadają niezaprzeczoną wartość „Prehled pramenu stare slovanske historié“, „O Rusalkach“, „O Svarohovie, bohu pohanskych Slovanuv“ (Svaroh był bogiem słońca i ognia), „O narodech kmene skythiekeho“, „O zemi jmenovane Bojki“ itd. W roku 1842 wydał dzieło wiekopomne: „Narodopis slovanski“, które w krótkim czasie wyszło w trzech wydaniach.

Dział lingwistyczny reprezentują dzieła: „Geschichte der slavischen Sprache und Litteratur nach allen Mundarten“, dalej „Uebersicht der schriftlichen Denkmäler älterer Zeit bei den Südslaven“, „Monumenta illyrica. Rozkwiet slovanske literatury v Bulharsku“ i inne.

Obok tych dzieł wydanych, zasługuje również na uznanie bogaty materyał i szkice prac niewykończonych, dotychczas spoczywających w rękopisie. Ilość ich przewyższa prace wydane. Niestety rzeczy te nie mają dziś już wielkiej wartości okrom biograficznej. W tej spuściźnie literackiej Szafarzyka znajdują się jego własną ręką z manuskryptów przepisane prace Miklosicza, Srezniewskiego, Daniczyca, Kukuljewicza, Brczica i innych; świadczy to o niezwykłej pracowitości Szafarzyka.

Szafarzyk nie jest zwykłym typem uczonego; — dzieło, którego dokonał, przekracza zakres zasługi ludzi tem mianem oznaczanych. Szafarzyk był jednym z tych, którzy dokonali dzieła odrodzenia się Czechów, Morawian i Słowaków, dlatego słusznie porówno z Kollarem i Palackim zaliczony przez nich został w poczet „ojców narodu“.

D. Królikowski.

Marty, pijatykę parobków, swoją odmowę co do wzięcia w niej udziału, wyjazd dzisiejszy z domu, izbę Tarasa, rozmowę o dzieleniu gruntów; z kolei przyszedł mu na myśl syn wyrostek, gniadosz, który teraz grzeje się pod derką i przewracający się ze skrzypem sani z boku na bok gospodarz.

— I sam żałuje teraz pewne, że pojechał — myślał Nikita. — Nie chce mu się rozstać z dostatniem i przyjemnem życiem i nie dziwota: jemu trudniej umrzeć, niż takim jak ja.

I wszystkie te wspomnienia i myśli zaczęły się mu plątać i mieszać w głowie, aż w końcu zasnął.

Gdy jednak Brechunow, wskakując na konia wprawił w ruch sanie, a tylna ich ścianka, o którą się opierał, odsunęła i płoza uderzyła go w plecy, Nikita chcąc niechcąc musiał zmienić pozycyę. Wyprostowując z trudnością nogi i zgartując z nich śnieg, podniósł się zwolna i w tejże chwili bolesne uczucie zimna przejęło całe jego ciało. Domyślając się, że Brechunow odjeżdża, zawołał na niego, prosząc o pozostawienie zbytecznej już teraz dla gniadosza derki.

Ale Brechunow nie zatrzymał konia i znikł po chwili w śnieżnej zamieci. Pozostawszy sam, Nikita namyślał się przez chwilę, co ma począć dalej. Nie czuł w sobie dość sił, aby się puścić na odszukiwanie siedzib ludzkich, nie mógł też wrócić na dawne miejsce, które śnieg zasypał bez śladu, wiedział niemniej, że i w saniach się nie ogrzeje, nie mając czem się okryć, wobec tego, że własny jego kożuch i kaftan nie dawały mu już żadnego zgoła ciepła. Czuł teraz tak przejmujące zimno, jak gdyby miał na sobie jedną tylko koszulę. — Stał więc przez chwilę w zamyśleniu, a potem westchnął i nie ściągając z głowy płachty, padł w głąb sani, gdzie leżał przed chwilą gospodarz. Skulił się w kłębek na samym spodzie sani, pomimo to jednak ogrzać się nie mógł i leżał przez jakie pięć minut, dygocąc całem ciełem; ale dreszcze stopniowo ustawały, a jednocześnie gasła przytomność. Czy to był sen tylko, czy śmierć, Nikita nie wiedział, ale czuł się zarówno przygotowanym tak na jedno, jak na drugie. Jeżeli Bóg rozkaże otworzyć oczy, na tym jeszcze świecie i pędzić dalej takie, jak dotąd życie, to jest opatrywać cudze konie, jeździć do młyna z cudzem zbożem, od czasu do czasu zapijać się, a później wyrzekać wódki, oddawać wszystkie zapracowane pieniądze żonie, no i bednarzowi i oczekiwać pociechy z syna wyrostka, niech się dzieje święta wola boska. Jeżeli zaś Bóg rozkaże zbudzić się na innym świecie, gdzie wszystko będzie dlań tak nowem i radosnem, jak tu na ziemi nowemi i radosnemi były w pierwszych latach życia pieszczoty matki, zabawy z rówieśnikami, łąki, lasy, jeżdżenie sanną, gdzie, słowem, rozpocznie się całkiem odmienne, inne, nowe życie — i wtedy niech się dzieje święta wola boska.

I Nikita stracił do reszty przytomność.

VIII.

Brechunow tymczasem, uderzając konia nogami i końcami cugli, popędził go w kierunku, gdzie — jak przypuszczał — powinien był znajdować się las i leśniczówka. Śnieg zlepiał mu powieki: a wiatr jakby chciał go zatrzymać, ale on, pochylając się naprzód, otulał wciąż szubą i podsuwał ją pod siebie, aby mu dogodniej było siedzieć na zimnej, guzikami nabijanej uprzęży i nie przestawał popędzać konia. Jakkolwiek z wysiłkiem i z wolna gniadosz szedł pokornie tam, gdzie mu kazano.

W ciągu pięciu jakich minut Brechunow jechał w prostej — jak mu się zdawało — linii, nic nie rozróżniając prócz głowy konia i białej pustyni i nic nie słysząc, prócz poświstów wiatru, grającego na uszach konia i własnym jego kołnierzu. Nagle zamajaczyło przed nim coś czarnego. Z bijącem radośnie sercem pospieszył ku ciemniejącej plamie, widząc już w niej ściany chałup wioskowych. Ale czarny punkt był ruchomy, chwiał się na wszystkie strony i nie była to żadna zgoła wioska, tylko miedza, porośnięta wysokim burzanem, z którym wiatr wyprawiał harce.

(Dokończenie nastąpi).

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Polacy nad Renem.

Kolonia, maj 1895.

„Incorrupta fides, nudaque veritas“
Horatius.

Towarzystw polskich mamy w Kolonii aż dwa, niestety zastosować można do nich, równie jak i do innych towarzystw polskich w Nadrenii, pessymistyczne zdanie, że „niewszystko złotem, co się świeci“. Piszę niestety, bo w tem lub owem piśmie czytając od czasu do czasu wzmiankę o licznych zebraniach, wspaniałych uroczystościach, wielkiej liczbie członków, o ich gorliwem uczęszczaniu na posiedzenia, o sile odpornej, jaką wywierają przeciw naciskowi germanizacyi etc. etc. mniemać by można, że Polacy w Nadrenii to gałęź naszego narodu, która swą dziarskością i dzielnością przewyższa, z najmniej o głowę braci żyjących w kraju, dzi[illegible]czyć się, za przykład stawiać ich można. [illegible]a veritas ma się tymczasem inaczej.

Korespondencye w sprawach tutejszych towarzystw, nadsyłane do różnych redakcyi, pisane bywają zwykle przez osoby, których jasnowidzenie nie sięga dalej nosa, a którzy zapatrywania swe na czynności poszczególnych Towarzystw mierzą ilością wyprawionych tańcówek. Artykuły takie, pisywane zwykle przez scribifaxów, którzy płytki pogląd swój na działalność i rozwój życia wychodzców pokrywają optymistycznemi frazesami i dytarymbami, i którzy zadawalniają się uchem łowić radosne wybuchy, podniecone kuflami piwa i na podstawie głośniejszych objawów budują fałszywe wnioski na korzyść ducha narodowego, — bałamucą tylko opinią publiczną.

Powiedział Maksymilian Fredro, że „kto co gani, tego nie kocha, a czego nie kocha, o to nie dba“ i smutno by mi było, gdyby za krytyczne uwagi posądzono mnie o obojętność, od czego uchowaj Boże. Ganić, a błędy wytykać, to dwa różne zadania, a sumienie nakazuje mi lepiej narazić się na cierpkie uwagi za moją „złośliwość“, niż minąwszy się z prawdą iść wygodniejszą, utartą drogą i pisać superlativami pochwał naszpikowany artykuł, z którego słuszna nagana i krytyka zostałyby wykluczona. Czytając o Towarzystwie polskiem w Kolonii, Szan. Czyt. mogą sobie wyrobić zdanie i o innych Towarzystwach naszych w Nadrenii, bo stosunki tu i tam mniejwięcej do siebie podobne.

Wielu przybywa dotąd Polakami, ale statystyka smutne wykazałaby rezultaty, ilu z przybyszów Polakami pozostaje, ilu z nich chociaż po latach wraca do kraju, żeby nabyte wiadomości zużytkować w interesie własnego społeczeństwa. Błędnem byłoby wszystkich potępiać w czambuł, ale z drugiej strony nie należy stale tutaj osiadłych Polaków uważać za „niezwyciężonych“, a do Towarzystwa nadmiernego przywiązywać znaczenia, chociażby z tego powodu, że liczba ich członków minimalna, że rezultaty ich czynności, względnie mówiąc, równają się — prawie — zeru. Winni temu, oczywiście, Polacy sami, że nie łączą się w gromadę, że nieraz towarzystwa niemieckie przenoszą nad polskie, że w ostatnich nie znajdują upodobania, lub krępowani fałszywemi względami na stanowisko własne, unikają starcia się z żywiołem polskim, uważając go prawie za „nieprzyzwoity“ za „nicht standesgemäss“. Winne z drugiej strony i zarządy pojedyńczych towarzystw, że nie posiadają stanowisku swemu odpowiedniej sprężystości, za pomocą której trzeba skupiać około rozniecone-go ogniska coraz większe masy, ogrzewając je ciepłem rodzinnych zwyczajów i obyczajów; że nie umieją zainteresować i wkorzenić jasnych zapatrywań na obowiązek, jaki na Polakach-wychodzcach ciąży; że nie posiadają zdolności gospodarza, który powinien wspólny pobyt uprzyjemnić, urozmaicić go i last not least — przybyłych zabawić. Kolonia, Düsseldorf, Akwisgran i inne większe miasta nad Renem tak obfitują w lokale i zabawy, rozrywające szarą nić kłopotów codziennych, tak są kuszące do jawnogrzesznictwa narodowego, że charaktery słabe ulegają ich pokusom, czyniąc w życiu narodowem wyłom, który jest tem dotkliwszy, ponieważ zły przykład innych wabi do dezercyi z posterunku, na którym ich postawił fakt, że urodzili się Polakami. Wobec takich warunków poziom życia patryotycznego opada, a brak nam męża, któryby umysłem umiał ogarnąć całokształt smutnego położenia, któryby miał wolę, czas i odpowiednie siły ująć w kluby tę rozproszoną rzeszę, pogodzić zwaśnionych, przemówić im do serca, zachęcić do działania na wspólnę korzyść, ku zadowoleniu własnego sumienia. W Kolonii samej jest Polaków kilka tysięcy, a tymczasem jedno towarzystwo liczy tylko 20 członków, drugie coś 100 podobno. Gdzie i jak reszta ich czerpie pokrzepienia ducha i jakie ztąd rezultaty? Przeważny kontygens tutejszych Polaków stanowią robotnicy i rzemieślnicy, warstwa ludzi, wystawionych najwięcej na paraliż germanizacyjny, bo otoczona wpływem przeważniejszej liczby innoplemieńców, a nie uzbrojona dostatecznie w siłę odporną, jaką daje oświata, tonie w morzu niemieckiem, powiększając straty rodu polskiego na rzecz Niemców. Tym braciom naszym i w tutejsze okolice do wojska zaciągniętym Polakom największe grozi niebezpieczeństwo, a najmniej na takie podobne przypadki posiadamy środków ratunkowych, żeby nie pozwolić upaść ich duchowi, żeby wpoić w nich dumę narodową, uchronić od zobojętnienia i zachować dla naszej sprawy. Lud polski, zwłaszcza zatrudniony po fabrykach, tak prędko przywyka do niemieckiego chleba, a w otoczeniu rdzennie niemieckiem tak bezmyślnie poddaje się wpływom zewnętrznym, tak szybko zapomina obowiązków narodowych, że uzbierawszy nieco grosza, na stałe tu się osiedla, zakłada interes, kupuje grunt, rozpala ognisko domowe i — żeni się z Niemką. Ostatni ten krok zwykle bywa pożegnaniem się z polskością. Dzieci już słowa po polsku nie rozumieją, bo obojętność rodziców, szkoła, kościół i całe ukształcenie otaczających stosunków pracują nad ich wynarodowieniem. Skorumpowane nazwiska, jak Botzian, Tschetziak, Stritschek lub Kontzky najlepiej świadczą o praktycznej polityce tych „uniwersalbürger“. W wojsku nie lepiej ma się sprawa. Nasz chłopek np., wzięty do wojska w niemieckie strony, z początku zaledwie kilka słów zna obcej mu mowy, ale zamknięty w koszarach, zastraszony groźbą i karą, uczy się z książki i od otoczenia, a szykany towarzyszy wojskowych i znęcanie się przełożonych nad „dummer Polack“ uwagę i pracę jego tak podwajają, że zwykle nie mija pół roku, a nasz chłopek język śpiewa „Heil dir im Siegerkranz“, niż „Boże coś Polskę“. lub nawet „Kto się w opiekę“. Zdarza się, że 2 lub 3 Polaków w jednej mieszkają i sypiają kazamacie koszarowej, nic przeto dziwnego, że w ojczystym języku prowadzą rozmowę, ale czuwający gefrajter, który nad nimi roztoczył skrzydła opiekuńcze, taką im za tę zuchwałość daje nauczkę, tak ich umie rozdzielić, takiemi otoczyć towarzyszami, że biedny Polak gnie się, chyli, a w końcu pod naciskiem upada. Zapomniawszy w 3 latach służby po polsku, – bo nie miał czasu na pisywanie listów do domu, bo nie czyta po polsku, bo nie miał sposobności do spotkania się z rodakami, — kruszy się w nim miłość do rodziny pozostałej pod ojczystą strzechą, kruszy miłość do gleby rodzinnej i zatrudnień w polu, do skromnych zwyczajów w ojcowskiej chacie, aż obdarty z ideałów narodowych i ludzkich staje się niczem, ni rybą ni rakiem. Nieliczną jest garstka tych, którzy nie skrzepli w cudzoziemczyźnie, których hasłem usque ad finem, ale wzgląd trzeba i w kraju brać i na tę małą liczbę, której nieracyonalnem wydaje się, gdy czyta w gazetach, jak nasi posłowie na sejmie upominają się o język polski zawsze tylko dla religii i kościoła, jak gdyby nam obok wiary i narodowość również świętą nie była. Chowanie się takie za ornat kosmopolityczny zobojętnia dla spraw narodowych, które jako więcej potrzebujące poparcia na pierwszym planie stawiać należy. Pokora — jak powiedział Bismarck — jest dobrym środkiem do zbawienia duszy, ale narodu nigdy jeszcze nie zbawiła i dlatego otrząsnąć się trzeba z małodusznego strachu, który całą akcyę narodowego życia w zarodku tłumi i paraliżuje. Polacy wobec sfory polakożerców niczego może nie osięgną w sejmie, ale wyprostowaliby spaczone dążności, zwyrodnione pojęcia obowiązku, utrzymaliby niesfałszowaną zasadę w pojęciach współziomków, którzy, jak tak dalej pójdzie, nie będą w końcu wiedzieli, czy są Polakami czy katolikami.

Łask nie pragniemy, bo one bałamucą umysły słabe, tworzą partye rozbijające jedność, a w dzieciach i młodzieży naszej obniżają uczucia, które w szlachetnym narodzie, podeptane nasze prawa wywołać muszą koniecznie. Rozbudzić trzeba naród uśpiony pokorą, ażeby przyszedł do samowiedzy praw swoich i nie łask sobie życzył, ale o spełnienie obietnic się upominał.

Rdzennym objawem życia narodowego jest co najmniej ruch umysłowy, jednolitość działania i jasny a stanowczy program polityczny, bez nadprogramowych wyczekiwań w przedpokojach cesarskich, a tymczasem wśród nas panuje głusza i ciemność egipska, niemoc i bezradność, która odrętwia ducha, coraz szersze na tej stojącej wodzie zakreślając koła. Zamiast skoncentrować siły i chociażby tylko utrudnić wrogom ich bezprawne zamiary, omdlały naród nasz staje się sektą fatalistów i bezczynnie wyczekując „przeznaczenia“, pozostawia opatrzności rozwiązanie zagmatwanego węzła, którego osłabiony rozum i refleksyami podminowana wiara jego rozwiązać już nie potrafi. Słońce naszej doli smutno tymczasem wschodzi, a promienie jego Baltazarowemi głoskami piszą zdanie pisma św.: „Ojciec mój smagał was biczami, a ja smagać was będę basałykami“. Jeden po drugiem daje nurka z pokładu i woła: „jak wiatr pomyślny zawieje, to i my głowy wychylimy z wody“, a nie baczy, że statek bez załogi rozbić się i na dno pójść musi.

I coraz częściej i coraz szersze koła ogarnia beznadziejne uczucie społecznej dekadencyi i to nietylko tych, którzy umieją rozróżnić prądy polityczne, ale i tych, którzy nawet nazwać ich nie umieją, a zdaniem sobie sprawy z istotnego stanu rzeczy nie trudzą głowy. Usypiające wiadomości z kraju drukowane pod nagłówkiem: „Błogosławieni cisi...“ uważają za dogmat, a opinie dyplomatyczne fabrykowane w kuźniach politycznych działają na ich z domu wyniesione odporne uczucia i na ich energią jak narkotyk. Bierność to śmierć, a nam żyć trzeba, żyć i ożywiać. Zadaniem Towarzystw wobec smutnego stanu rzeczy, jest zatrzymać niestety w bieg już wprowadzoną kulę obojętności, która dla nas stała się prawdziwą kulą u nogi. A jednak gdyby przez te zmęczone umysły, drzemiące serca i uśpione w bezczynności ręce przebiegła jakaś iskra elektryczna, podsycająca funkcye mózgu, prężąca muskuły, zapalająca ogień w żyłach — ileżby z tego było korzyści!

Smutny stan naszych Towarzystw nad Renem tłumaczono mi brakiem najważniejszego nerwu w naszym organizmie, który się nazywa nervus rerum, a który w życiu ludzi i narodów jest lampą Aladyna, za potarciem której ma się wszystko, czego się pragnie. I znowu na stół wychodzi kwestya pieniężna; nie możemy strzelać dla 24 przyczyn, a po pierwsze dla tego, że nie posiadamy prochu... Niestety! jesteśmy ubodzy, brak nam pieniędzy, nie mamy kapitałów, nie mamy czem obracać, a nasi magnaci, żeby zamiast grosza nie dać dukata, wolą nic nie dać, a za to — exemplum docet — jak były poseł kujawski p. Kościelski wyznaczyć nagrodę dla zwycięzcy w regatach, jakie odbyć się mają po otwarciu kanału Północnego. Dawniej mówiono, że bliższa ciała koszula niż kaftanik, dziś tempora mutantur można deklamować z Owidem. Ale czy Szan. Czytelnicy

nie wiedzą gdzie powstało przysłowie: „rzucać groch o ścianę?“ — zdaje się, że tylko u nas. A nie słyszeliście o czerpaniu wody przetakiem i o przelewaniu pustego w próżne? Słyszeliście? więc niepotrzebnie brałem w jednę rękę groch, a w drugą przetak i szedłem na plac, gdzie już tylu innych zmachało się nadaremnie.

Niebardzo tu u nas wesoło jak widzicie, ale korzeni naszej niedoli na obczyznie, szukać należy w kraju, gdzie senność wśród społeczeństwa i fałszywe opinie od lat rozsiewane przez „rozsądnych“ redaktorów, zakaziły wzrastające pokolenia miazmatami bezczynności, pogrążyły w lenistwie umysłowem i obniżyły termometr uczuć narodowych. Działalność szkodliwej, pełnej moralnych laseczników atmosfery politycznej skutecznie paraliżować może dom i rodzinę.

Intenzywniejsze w kierunku narodowym wychowanie domowe, głośniej i z większym naciskiem głoszone nasze prawa i żywszy nastrój społeczeństwa nie ograniczający się jedynie na nadziejach powstałych podczas słodkiego dolce far niente, to pierwszy szaniec przeciw germanizacyi wychodźców, a potem... gdyby nie gorzkie zdanie Tyzenhauza, że w Polsce krewni na to są tylko, żeby się gryść nawzajem, bo nie oglądając się na opiekę Towarzystw itd. przedewszystkiem krewni powinni dbać o krew własną na obczyźnie i jak Argus stuoki, przydany na straż Jowiszowi przez Junonę, strzedz, żeby w małżeństwie narodowem nie cudzołożyli i ściskać węzeł, który ich łączy z krajem.

Środkiem do tego różne bywają remedya, a wybór ich trzeba pozostawić indiwidualności pojedyńczego osobnika. Zebranemi w życiu doświadczeniami innym razem podzielę się z „Przeglądem“, a dziś darujcie, że zgrzytem słonych uwag sprawiłem dysharmonią w koncercie tak chętnie u nas śpiewanej piosnki: Kochajmy się, nie dajmy się...

Gorzko, ale „difficile est satiram non scribere“.

Witold Leitgeber.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Wiedeń, d. 28 maja 1895.

Nowy minister spraw zewnętrznych. — Sprawy rady miejskiej. — Znowu emigranci do Brazylii. — Widmo reformy wyborczej — Nowe pismo polskie w Wiedniu. — Tryumfy Zimajerowej.

Niespodzianie wszedł na stanowisko człowiek, o którym wcale nie wspominano przez cały czas trwania sporu Kalnoky-Banffy. Zdawało się, że pośrednictwo cesarza sprawę uspokoi, a przynajmniej załagodzi aż do zwołania wspólnych delegacyi Austro-Węgier. Tymczasem z każdym dniem spór się zaostrzał, okoliczności rozwojowi jego sprzyjały i zmusiły po raz drugi Kalnoky'ego do wniesienia prośby o uwolnienie go z posady ministra. Cesarz prośbę przyjął i natychmiast zamianował nowego funkcyonaryusza w osobie hr. Agenora Gołuchowskiego, dawnego ambasadora w Rumunii. Węgierskie pisma przyjęły tę wiadomość z wielkiem niezadowoleniem, ale już nie było sposobu temu zapobiedz. W kołach polskich panuje wielka radość z nowego ministra, lubo zapominać nie wolno, że hr. Gołuchowski, pomimo swojej polskości, jest bardzo służbisty i austryacki, to znaczy rządowy, a w tych warunkach, w jakich jego nominacya nastąpiła, innym być nie może. Jest u nas wielu polityków, którzy w każdem nowem zdobyciu jakiegoś stanowiska urzędowego widzą zdobycie kawałka korony, a tymczasem zapominają, że znaczna część galicyjskiego społeczeństwa nie jest tyle dobrym Polakiem, ile dobrym Galicyaninem, kochającym swój kraj — Galicyę — i swego króla: — cesarza austryackiego.

To też ani Dunajewski, ani Ziemiałkowski, ani Moreyski i Jaworski nic dla polskości nie zrobili, a dla Galicyi specyalnie wcale nie wiele; Gołuchowski w tym względzie innemi nie pójdzie torami. Tylko jednem więc możemy się cieszyć, a to zaufaniem monarchy do Polaków swoich; w czasie kiedy pod zaborami moskiewskim i pruskim rząd uważa nas za zbrodniarzy i nieprzyjaciół, cesarz Austryi przeciwnie, w nas widzi swoich szczerych poddanych, których rady pomocy zasięga w rządach państwowych. Rada miejska stanowi we Wiedniu bezustanną „*question du jour*“. Antysemici na razie zwyciężyli, przewódca ich został vice-burmistrzem, ale dalej ani na krok. Za parę dni mają wybierać z pośród siebie burmistrza; — dla *Luegera* brakuje *trzech* głosów, i ani rusz je uzyskać! Zresztą jest pewność, że gdyby się nawet owe trzy głosy potrzebne do większości znalazły, — to rząd potwierdzenia *Luegerowi* odmówi i radę rozwiąże, poruczając sprawy miasta swojemu komisarzowi, aż do ponownych wyborów.

W tych dniach ciekawe widowisko było w korytarzach parlamentu. Kilkudziesięciu chłopów galicyjskich, uległszy namowom agentów, a cierpiących głód i nędzę na własnym zagonie, postanowiło wyjechać do Brazylii. Resztki mienia sprzedali, „schiffkarty“ kupili i dojechali do Gracu. Tam policya wszystkich aresztowała i osadziła w aresztach miejskich, dla braku paszpartów. Poseł Lewakowski pojechał do Gracu i wymógł uwolnienie ich z więzienia. Cofnięto ich więc do Wiednia, gdzie udali się do „Koła Polskiego“ o pomoc. Posłowie złożyli się na drogę powrotną do Galicyi, podczas kiedy emigranci ani myśleć nie chcą o powrocie do wsi, gdzie już ani zagonu nie posiadają. Chcą do Brazylii — a tymczasem zjadają ostatni grosz w Wiedniu! To wychodźctwo nasze to prawdziwy skandal! Ani porządku, ani kierunku, ani ratunku dla głodnego chłopa galicyjskiego. Albo z głodu umrzeć na swojem imieniu, albo zmarnieć w podróży do „ziemi obiecanej“.

Donosiłem wam o nowem piśmie polskiem w Wiedniu. Pogłoska się sprawdziła, i pismo takie wyjdzie pod redakcyą *posła dra Witolda Lewickiego*. Do składu redakcyi należeć mają jeszcze posłowie: *Rutowski, Szczepanowski i Sokolowski,* oraz kilka wybitnych sił młodszych, których nazwiska później doniosę. Pismo będzie mieć tytuł „*Przełom*“ i pójdzie w kierunku jak najbardziej postępowym pod względem literatury i sztuki, a czysto polskim odnośnie do polityki austryackiej. Zobaczymy, jaki będzie pierwszy numer i jego program, na razie wstrzymujemy się od wszelkich przypuszczalnych domniemywań...

Po kilku latach, ponownie przybyła do Wiednia Adolfina Zimajer, jedna z najznakomitszych artystek operetkowych tak w Polsce jak i w Niemczech. Występuje w „Carltheater“ i śpiewa w operetce na polskiem tle osnutej p. t. „*Lachtaube*“ (turkawka). Przyjęcie, jakiego tutaj doznała przed dziewięciu laty, pozostało do dzisiaj w pamięci wiedeńskiej publiczności, to też zaraz na pierwszem przedstawieniu nie było końca oklaskom i witaniom. Trzeba przyznać, że dzisiaj stanowisko pani Zimajerowej jest daleko trudniejsze, chociażby już z tego względu, że kiedy dawniej wystąpiła w operetce nowej i nieznanej, w roli, której żadna artystka po niej w Wiedniu dotąd nie grała, dzisiaj ukazała się w granej sztuce, pisanej dla tutejszej subretki, pani *Kopacsy-Karczay,* Węgierki, reklamowanej aż do znudzenia przez wszystkie miejscowe dzienniki. Dla tego też tem więcej podnosi tutejsza krytyka jej talent, a przedewszystkiem artyzm, jakim przewyższa swoją poprzedniczkę. Gra jej jest zupełnie skończona, a umiejętność w używaniu głosu wprost zdumiewająca. Prasa wiedeńska *bez wyjątku* przyjęła Zimajerową z prawdziwem uznaniem, a publiczność co wieczór teatr zapełnia po same brzegi. O ile słyszałem, to z artystką naszą traktują równocześnie duże dyrekcye o zatrzymanie jej stale w Wiedniu i prawdopodobnie jedna z nich ją zatrzyma.

Xi.

Odezwa.

Od „Stowarzyszenia Pomocy Naukowej dla Polek im. Kraszewskiego“ odbieramy odezwę następującą:

Ośm lat dobiega od chwili, kiedy grono ludzi dobrej woli, chcąc uczcić pamięć J. I. Kraszewskiego jakimś trwałym pomnikiem, założyło stowarzyszenie jego imienia, mające za cel udzielania stypendyów Polkom, kształcącym się na Uniwersytetach.

Już wówczas odczuwano, że rodaczkom naszym, dążącym do światła, dzieje się krzywda: nie dość, że brak należytego przygotowania utrudnia im studya, konieczność wyjazdu na obczyznę naraża je na tysiączne przykrości, moralnej i materyalnej natury. Nie będąc w stanie na razie radykalnie zapobiedz złemu przez otwarcie dla Polek szkół średnich i uniwersytetów krajowych, społeczeństwo chciało choć w części wynagrodzić tę krzywdę, przez niesienie pomocy w formie stypendyów. W tej idei powstało Stowarzyszenie imienia Kraszewskiego.

We wszystkich krajach cywilizowanych istnieją stowarzyszenia, mające na celu ułatwianie kobietom nabycia wyższego wykształcenia. Wiedeński „Verein für erweiterte Frauenbildung“, jakkolwiek liczy dopiero dwa lata istnienia, już rozporządza kapitałem przeszło 6,000 złr. i utrzymuje gimnazyum dla dziewcząt. Takież same cele ma praska „Minerwa“, usilnie popierana przez czeskie społeczeństwo. W Ameryce i Anglii oddawna istnieją specyalne uniwersytety kobiece, utrzymywane w części kosztem rządu, w części zaś społeczeństwa. W Rosyi świeżo na wieść o ponownem otwarciu uniwersytetu dla kobiet, posypały się hojne datki, które w krótkim czasie dosięgły 700,000 rs., zaś pani Roydiestwienska ofiarowała na koszta jego utrzymania po 12,000 rocznie.

U nas zastęp kobiet, zdobywających wykształcenie uniwersyteckie, zwiększa się stale, trudne zaś warunki, wśród których te dzielne istoty pracować muszą, nie zmieniły się ani na jotę. To też Stowarzyszenie nasze bardzo wiele ma do zrobienia. Chcąc racyonalnie ułatwić Polkom zdobycie wyższego wykształcenia, powinno ono obok udzielania pomocy materyalnej w formie stypendyów pomyśleć o założeniu szkoły średniej, mogącej dać do studyów uniwersyteckich dostateczne przygotowanie. Fundusze jego jednak są, niestety, zbyt skromne, by zadaniu swemu odpowiedzieć mogło. W roku bieżącym zdobyliśmy się zaledwie na dwie skromne zapomogi jednorazowe, a gdzie stypendya stałe tak niezbędne?, gdzie środki potrzebne do utrzymania gimnazyum żeńskiego?...

Ufni, że społeczeństwo nasze tak hojne zazwyczaj, gdzie chodzi o użyteczną i uczciwą sprawę, i tutaj oczekiwań naszych nie zawiedzie, zwracamy się do wszystkich, odczuwających doniosłość poruszonej sprawy, z gorącą prośbą o poparcie naszych usiłowań przez jak najliczniejsze zapisywanie się na członków i jednorazowe ofiary.

Członkiem zwyczajnym stowarzyszenia według brzmienia § 8 naszego statutu, może być każdy bez różnicy płci, wyznania i stanu wnoszący 1 złr. rocznie, zaś członkiem założycielem każdy, który złoży na cel Stowarzyszenia jednorazową kwotę 25 złr.

Zapisywać się na członków można u podskarbiego Stowarzyszenia, profesora N. Cybulskiego, Kraków, Szczepańska 11, lub też u sekretarza Dr. Grossa, Kraków, Grodzka 46.

Przewodniczący: *Dr. Adam Bełcikowski.* Zastęp. przewod.: *K. Bujwidowa.*

Sekretarz: *Dr. Adolf Gross.*

Kraków, 1895.

NA WYŁOMIE.

(Z placu wystawy. — Negliż. — Bawarki. — Pawilony pracy kobiecej. — „Aniołku czekamy“. — Pokrzepmy się).

„Pani Wystawa“ jest stanowczo niemoralną kobietą. Jeszcze toalety nie ukończyła, a już podwoje na roścież otwiera i gości przyjmuje w negliżu. Mój przyjaciel Edzio uśmiecha się jak Satyr podpatrujący nimfy kąpiące i mrużąc oczy, bierze mnie pod ramię: „To lubię! pójdziemy!

I poślijmy — przepraszam wszystkie gołębice za tę rozpustę, — oglądać nagość półkrytą, ale co mi ten grzesznik Edzio nawymyślał za fałszywą analogią, tego dotychczas nawet „Kuryer Poznański“ nie dokazał. Bo, proszę państwa, zdawało mu się, że ujrzy, jakieś batystowe, koronkami strojne koszule, denerwujące gorsety, halki jedwabne i różne białości negliżu — Edzio pouczył mnie, że kolorowe spódniczki i t. d. już uśmierciła moda okrutna — a tu odsłoniła pani Wystawa całe góry piasku, żwiru i wiorów, całe legiony wozów i batalion robotników z drabkami, młotami i piłami w ręku.

— Piękny mi negliż, — zamruczał Edzio, — i spojrzał z podełba na sympatyczną „bufetową“ w jednej z polskich winiarni. Przypomniała mi się głośna „Ella“ z lwowskiej wystawy, — tamta miała oczy wiecznie uśmiechnięte, tej oczy wiecznie się dziwią.

Nie wiem, czy ta zdziwiona blondynka odegra podobną rolę jak Ella, nie wiem, czy stanie się ulubionym tematem reporterów wystawowych jak tamta, i nie wiem, czy wzorem apetycznej Wiedenki ujarzmi najwyższych dygnitarzy, ale to stwierdzić mogę bez namysłu, że koleżanki swoje z Bawaryi, transplantowane z nad Izary nad Wartę i umieszczone dwadzieścia stóp nad ziemią w powietrznej piwiarni, zwycięży w „konkursie piękności“. Prawdą a Bogiem, to łatwem jest tu zwycięstwo, bo te Bawarki mają z bawarskiem piwem tyle tylko wspólnego, że chłodzą. A zatem katońskie niewiasty, matki i żony, zasypiajcie spokojnie. Cnota waszych mężów i synów nie poniesie szwanku i posępny okrzyk „Caveant uxores consulum“ nie wypłoszy z domu waszego anioła ciszy.

Edzio, który mimo swoich sułtańskich słabostek jest gorącym patryotą nawet na punkcie miłości, zatarł radośnie ręce i uszczypnąwszy mnie w ramię, rzekł:

— A co? Polki górą!

Prawda! Lecz o zwycięztwie Polek w dziedzinie ludzkiej urody nie wątpiłem nigdy i dla tego zadowolenie moje z tryumfu tego było tylko takie, jak gdyby do startu wyścigowego stanął rumak angielski obok chłopskich koników i zdobył pierwszą nagrodę. Tak być musiało, — bieg nie denerwował, nie budził obaw, i dla tego ucho sportsmana nie lubowało się w fanfarach zwycięstwa.

Z większem zaciekawieniem i głuchym niepokojem zbliżałem się do pawilonów pracy kobiecej, gdzie Polska i Niemcy w dwóch graniczących oddziałach walczą o lepsze. Lękałem się benedyktyńskiej pilności córek Germanii, lękałem się mistrzostwa ich techniki i zmysłu organizacyjnego: tam jest nietylko kokieterya pracy, haftująca chusteczki i robiąca pończochy w publicznych ogródkach, teatrzykach i salach koncertowych, tam jest istotnie praca, wytrwałość i mrówcza cierpliwość. Więc proszę wybaczyć mi tę nieufność gryzącą, która prześladowała mnie na progu dwóch obozów kobiecych, — która zamieniła się jednak w jakieś uczucie serdecznej wdzięczności i w jakieś rzewne wspomnienie z lat dziecinnych, gdy młodemu chłopięciu opowiadano o Psiem polu, Płowcach i Grunwaldzie. — Niemki podjęły się ryzykownego eksperymentu. Zamiast wystawy robót kobiecych w utartem tego słowa znaczeniu pokusiły się o wystawę sztuki, i to nietylko stosowanej do przemysłu, lecz czystej — portretowej, krajobrazowej i rodzajowej. Na takiem założeniu opiera się pozorna świetność ich oddziału, ale równocześnie tkwi w tym dominującym charakterze artyzmu pięta Achillesowa. Prawdziwe artystki bowiem schronią się niezawodnie do pawilonu sztuki, który na gwałt kończy toaletę swoję, a w pawilonie robót kobiecych szuka przytułku rzesza amatorek.

W pierwszym sądzić będzie o przyjęciu utworów jury fachowe, w drugim o sztuce sądzi dyletantyzm. Tam hasłem jest „sztuka“, tu „praca kobieca“, — tam szukają artystek, tu malujących kobiet, — a wobec tego niemiecki oddział pracy niewieściej ubrany w efektowne cechy galeryi musi wywierać wrażenie jakiegoś nieudanego wysiłku, jakichś pretensyonalnych ćwiczeń artystycznych. Na pierwszy rzut oka lśni się to i błyszczy i barwami mieni, ale gdy wpatrzysz się w te malowanki, szukasz napróżno — sztuki. Są to mniej więcej poprawne robótki szkolne, w których przedewszystkiem uderza brak silniejszej indywidualności i techniki. Słodkie to, wypieszczone, zdradzające gdzieniegdzie pewne poczucie barwy, ale na ogół są to próbki dyletanckie, bez głębszej artystycznej wartości. Jest tam jeden portret chłopczyka, malowany przez hrabiankę Maltzahn, cukierkowy nieco, przepracowany i martwy w kolorze, ale utrzymany przynajmniej w tonie i względnie poprawny w rysunku; natomiast opodal razi jakieś malowidło jaskrawe, przedstawiające głowę starej kobiety. Twarz modelowana fatalnie, całość twarda, błędna w liniach i niezdradzająca najmniejszych kolorystycznych zdolności. Mógłbym z tego częstochowskiego towaru przytoczyć jeszcze kilkanaście próbek, ale obawiam się, przekroczyć granic pogadanki feljetonowej i utonąć w tych fałszywych rysunkach, kolorach, światłach i cieniach. Powiem zatem tylko tyle, że należałoby wystawione obrazki przepuścić przez sito artystycznej krytyki a lubo przy takiej operacyi „galerya“ zmalałaby do niepoznania, to niemiecki oddział „pracy kobiecej“ zyskałby przez to niemało. Człowiek mimowoli tak się zniechęca tym potopem dyletantyzmu, nadającego całemu pawilonowi ton i charakter, że już nie znajduje odwagi rozpatrywać się w rzeczywistych „robotach i robótkach kobiecych“, w tych haftach, koronkach i gobelinach, które w dziale przemysłu artystycznego zaszczytne zajmują miejsce.

Zupełnie odmienne wrażenie wywiera drugi obóz niewieści, gdzie polskie kobiety stanęły do wyścigu. Tu nie króluje pędzel, — lecz igła, druty, klocki, szydełka i te tysiączne drobiazgi, które milionowemi obrotami pracowitej ręki snują pajęczynę koronek, arabeski haftów, mozaikę kanwy, wiązania złotych i srebrnych sznurów, bukiety kwiatów i deszcz perełkowy. Dokładną ocenę bogatego żniwa pracy naszych kobiet powierzy niezawodnie „Przegląd Poznański“ fachowej ręce, — ja tylko rzucam urwane dźwięki artystycznych wrażeń, a żałuję, że nie umiem tak pięknie haftować piórem jak nasze panie igiełką. Mam jednak kolegę w Cieplicach, którego haft stylowy jest tak czarujący, że jeżeli harfa Lilli Wenedy zamieniała „gady w słuchaczy“, to słowa jego — słuchaczy w gady syczące zmieniają, a jeżeli Krasiński o Słowackim powiedział, że gdyby dźwięki języka polskiego stać się mogły indywiduami, powinnyby się zebrać i złożyć się na posąg dla Juliusza z napisem „Ojcu ojczyzny“, to „Jaskółce z Cieplic“ powinny dźwięki te pomnik postawić z napisem „Macosze ojczyzny“. O! bo straszną macochą jest ta „Jaskółka“ wołająca w fejletonach „Dziennika Poznańskiego“ swoje „Aniołku czekamy“.

Kiedyż nareszcie zjawi się ten anioł i koniec będzie powieści! I kiedyż nareszcie znajdzie się u steru „Dziennika“ człowiek, który nie będzie upatrywać talentu literackiego w takich np. zdaniach: „Anielka powlekła swemi aksamitnemi oczyma po burych, a rozogniowych oczach szlachetnego młodziana na znak wdzięczności! A potem jej niebieskie oczy spotkały się z czarnemi Bogumiła, stojącego w zadumie w końcu fortepianu, i długo w nich pozostały, a łzy dziewicze, drzące, przelewały się z kąta w kątek jej rzęs.“ (!!!)

Jezus! Marya! uciekajmy odpocząć pod krzak tych prześlicznych róż sztucznych, które pani Puchalska z Krakowa wystawiła przed pawilonem pracy bobiecej, lub ratujmy się złotemi płynami, ugrupowanemi opodal w kształcie piramidy.

Ba! kiedy butelki zamknięte.

Edzio powiedział mądre słowo:

„Jakże mam sądzić o wódkach i winach z kobiecych spiżarni, jeźli mi spróbować nie wolno“.

Sulla.

U pani Adolfiny Zimajer.

(*Interwiew.*)

Wiedeński dziennik „Neues Wiener Journal“ poświęca następujący artykuł pani Adolfinie Zimajer, której interesujące występy na poznańskiej scenie zachowali czytelnicy nasi niezawodnie w świeżej jeszcze pamięci:

„We wtorek wystąpi pani Zimajer w teatrze Karola. Któż nie przypomina sobie szalonego powodzenia, jakiego przed jedenastu laty doznała artystka, występując w teatrze „an der Wien“ w „Gilette de Narbonne“. Sympatyczna Polka była bohaterką dnia; na każdem przedstawieniu teatr był wykupiony; wszędzie mówiono tylko o pani Zimajer.

Przez kilka lat głucho było o artystce. Zeszłego roku pojawiły się wieści, budzące żal i współczucie. Opowiadano sobie, że gwiazda Zimajerowej blednie, że troski i nędza zaglądają jej w oczy. Nagle przybywa artystka znowu do Wiednia, i kładzie tamę wszelkim hiobowym wieściom. Zajęcie, jakie genialna Polka wszędzie budzi, spowodowało jednego z naszych współpracowników do odwiedzenia artystki w jej mieszkaniu.

Oto treść zajmującej rozmowy z artystką:

„W ciągu roku“ — mówiła pani Zimajerowa — dostałam trzy zaproszenia na gościnne występy do Wiednia. Najprzód miałam znowu wystąpić w teatrze „an der Wien“. Panna Schoenerer zgadzała się na występy, ale brakło odpowiedniej sztuki. Skoroby się takowa ukazała, chciała p. Schoenerer zawrzeć ze mną kontrakt. Wreszcie sztuka się znalazła, — bo „Szansonetka“ odpowiadała moim gustom — ale zjawiła się pani Palmay. Drugie zaproszenie odebrałam od teatru Ronachera. Propozycyę tę odrzuciłam bez dyskusyi. Przed dwoma tygodniami doszła mnie propozycya agentury Taenczera, aby objąć rolę po pani Kopacsi w Taunda „Lachtaube“. Rola i partytura były w moim guście, więc zgodziłam się jak najchętniej. Nie może pan sobie wyobrazić, z jaką rozkoszą przybywamy (tu wskazała na swego męża, biorącego żywy udział w rozmowie) do Wiednia. Wiedeń to najpiękniejsze wspomnienie mego życia. Zawsze było mojem marzeniem zamieszkać stale we Wiedniu. Ale tego z rozmaitych powodów przeprowadzić nie mogę“.

„Pani nie zgodziła się tutaj na występy w teatrze, w którym publiczność, przy stolikach siedząc, pali i pije, a w Berlinie przed niedawnym czasem wystąpiła pani w takim teatrze?“

„Nie robię z tego tajemnicy. Miałam grać w „Lindenteatrze“; kiedy przyjechałam, był tam „krach“ i zaszły zmiany w zarządzie. Daremnie więc odbyliśmy daleką podróż z Warszawy do Berlina. Odrzuciłam przedtem wszystkie inne oferty i w braku zajęcia przyjęłam nader korzystną propozycyę dyrektora owego teatru „gdzie palą i piją“.

„Tutaj we Wiedniu, z powodu występów owych w Berlinie, wyrażano się o Pani z pewnem współczuciem“.

Pani Zimajer roześmiała się na cały głos; po tym śmiechu poznałem ją znowu, ten śmiech bowiem to jej specyalność. Tym śmiechem budziła niegdyś podziw; i teraz śmieje się równie szczerze i serdecznie. Rzekłbyś, że śmiejąc się tryluje w coraz wyższym tonie.

„Tylko proszę się nie litować; niech Bóg zachowa, żebym miała budzić litość. Jeszcze do tego niema powodu. Kto wpadł na koncept litowania się nad nami? Nigdy nie cierpieliśmy i nigdy nie będziemy cierpieli nędzy. Żyjemy, dzięki Bogu, w bardzo korzystnych warunkach, bo musi Pan wiedzieć (a mówiła to z ironiczną powagą i w sposób niezrównanie komiczny) że jestem nieomal „panią na zamku“ i posiadam małą lecz prześliczną wiejską siedzibę. Niech Pan będzie łaskaw nas odwiedzić, jeśli Pan zapragnie użyć idylicznego spokoju. W Zakopanem, polskiej wsi, niedaleko granicy, w głębi gór, mamy naszą posiadłość. Urocza cisza zalega dokoła. Lato zwyczajnie tam spędzamy, a zimą, kiedy życie teatralne nadto mnie zmęczy, uciekamy jak w dym do Zakopanego. Czy Pan wie, gdzie Zakopane leży? Kilka godzin

jazdy od stacyi koleji, — tak, gdybym tylko wiedziała, jak się ta stacya nazywa. Powiedz ty“.

Mąż, do którego się zwróciła, gładził poważnie siwy wąs. — „To nazwa węgierska“, — powiada. „Zaraz! jakże się nazywa!“

Pani Zimajer bębni gniewnie palcami po stole. Szpak, który jej stale towarzyszy we wszystkich podróżach i wesoło melodye z repertuaru swej pani wygwizduje, zaczyna na dobre świegotać.

„Cicho, cicho, ty gaduło“ — woła, a zwracając się do mnie, dodaje: „On tak zawsze paple. Więc nazywa się ta stacya, — no jakże się też nazywa“.

Pokazuje język, dotyka nerwowo końca i mówi: „Ot, tu na końcu języka mam, ale tego węgierskiego wyrazu wymówić nie mogę. Mówię po francuzku, angielsku, niemiecku, rosyjsku i polsku, i w każdym z tych języków grałbym mogła, ale takiego węgierskiego wyrazu nie wykrztuszę. Zeszłego roku byłabym się niemal przedzierzgnęła w angielską aktorkę. Angażowano mnie do Ameryki, ale, ponieważ nie dawano dostatecznych gwarancyi, nie pojechałam“.

„Nas Polaków zawsze coś nęci do obcych scen. W Polsce mamy mało teatrów. Teatr polski przechodzi ciężkie chwile. Usuwa mu się grunt. Grałam teraz w Warszawie, a długoż jeszcze będzie teatru w Warszawie?!“

W dalszym ciągu wspominała artystka, że była na pożegnalnem przedstawieniu pani K o p a c s i w teatrze Karola.

„Jak się pani Kopacsi podobała?“

„Jest równie oryginalna, jak Palmay. Temperament węgierski przebija. „T a t j a n ę“ zagram zupełnie, zupełnie inaczej. Przekona się pan naocznie! Może K o p a c s i ma słuszność Ale ja już sobie rolę obmyśliłam. Ani na chwilę nie będziemy do siebie podobne. Role swoje bardzo starannie studyuję“.

„Jeszcze mi Pani nie powiedziała, jak się Kopacsi podobała?“

„Nie krytykuję nigdy, nigdy! Mówmy o czem innem, nie o teatrze. Niechętnie rozmawiam o tym przedmiocie. Podczas pobytu w naszem ustroniu, o teatrze ani słówkiem nie wspominamy. Goście nasi o tem wiedzą i o teatr nie potrącają. Teatrem jestem przesycona. Na polskich scenach dużo się słomy namłóci — człowiek jest rad, gdy odetchnie świeżem, górskiem powietrzem i zamiast aktorów zobaczy górali“.

I otóż dojechaliśmy znowu do Zakopanego, wsi polskiej, oddalonej o kilka godzin drogi od... od...

„Zakazana nazwa“ — woła miła kobieta, — tak trudna i pogmatwana, że druty telegraficzne się plączą, gdy jako depesza po nich przelatuje.

KRONIKA LITERACKA.

„P r z e ł o m“. W Wiedniu ukazał się pierwszy zeszyt nowego tygodnika polskiego p. t. „Przełom“. Jest to organ lewicy galicyjskiej, wychodzący pod redakcyą dr. W i t o ł d a L e w i c k i e g o. W przedmowie znajdujemy ustęp następujący:

„Oto Prometeusze kosmopolityzmu znieśli ogień z niebiosów i rzucili zarzewie walki klas, walki społecznej, dobrali się do samego rdzenia narodowego życia i zatrzęśli tem, co dotąd stało nieruchome.

A w takiej chwili, kiedy zdawało się, że wszystkie siły skupią się około narodowego sztandaru, złośliwy los cisnął nam jeszcze boleśniejsze orędzia: objawiono nam wśród puzonów reklamy niebywałej w Polsce jakieś sybilijskie księgi racyonalizmu narodowego. Z szumem wiatru dolatywał nas jęk rozpaczy i krzyk protestu z naszych cmentarzysk narodowych i poruszyły się w grobach kości męczenników naszych.

Zniesie naród boleść niewoli i nędzę wygnania i zbrodnie przemocy ręką wroga wymierzane; zniesie smutki szarego dnia bez słońca nadziei i pracę na chl.b powszedni, ale nie zniesie propagandy nihilizmu narodowego, nie zniesie kłamstwa trzech lojalności, nie zniesie naigrawania ze swych ideałów, nie zniesie wyrzeczenia się swej przyszłości przez własnych swoich nauczycieli głoszonego.

Kiedy takie teorye się pojawiają, kiedy one są możliwe i pod dyskusyę poddawane, wtedy na tych, którzy pierwsi dawali hasło zaprzestania walki, przychodzi obowiązek protestu.

Kiedy wszyscy umilki, kiedy nawet ci, co tego kościoła narodowych pamiątek urzędowymi byli stróżami, nie mówią, wtedy mówić będzie ostatni obrońca narodu: naród sam. I niechaj nas nikt nie pyta, kto nam dał prawo mówienia. Mówić ma każdy prawo — ma obowiązek. My także. My zawsze ci sami. Stoimy między obozami skrajnymi, walcząc z ekstremami“.

Pod odezwą nowego tygodnika znajdujemy nazwiska trzech wybitnych polityków galicyjskich: Lewickiego, Rutowskiego i Stan. Szczepanowskiego.

„Kuryerowi Poznańskiemu“ nie podoba się oczywiście narodowo-demokratyczny charakter „Przełomu“ i dla tego wyraża zdziwienie, że w szeregu współpracowników czasopisma tego stanął ksiądz dr. A. Kopyciński. Oczywiście! Według „Kuryera Pozn.“ ksiądz każdy powinien być lojalistą p a r e x c e l l e n c e i bojkotować wszystko, co tylko innemu służy programowi. Zwracamy uwagę duchowieństwa naszego na odnośny artykuł „Kuryera“, odsłaniający karty zakryte.

* *
*

H r. P i o t r K u t u z o w, znany poeta i publicysta, wydał poemat pod tyt. „Zawiet Caria Pietra“. We wstępie autor podnosi konieczność ukochania ludu i głębszego zbadania jego ideałów chrześcijańskich. W poemacie autorowi, dumającemu nad brzegami Newy, ukazuje się postać Piotra Wielkiego, wzywająca pokolenie obecne, by zaprzestało wzorować się na cudzoziemcach i ujawniło w dziejach przyszłych potęgę duchową zjednoczonej ze słowianami Rosyi, czerpaną ze źródła miłości chrześcijańskiej.

* *
*

K o p e r n i k a r c y b i s k u p e m. Głośny p. Molin ma jednak „nos“, że się przyznaje do narodowości niemieckiej. Niemcy takich lubią, szanują, no i wynagradzają.

Są oni hojni nawet dla tych, którym się nigdy niemcami być ani śniło, a których w kilkaset lat po śmierci dla siebie zaanektowali.

Najlepszy przykład na Koperniku. Był on, jak wiadomo kanonikiem frauenburskim i i choć należał do kandydatów na biskupstwo warmijskie, a nawet administrował przez czas niej... dyecezyą, umarł jednak na stanowisku kanonika.

Tymczasem pp. Kuhnmeyer i Schultze w podręczniku do wypracowań niemieckich ogłaszają światu, co następuje: Kopernik był arcyaiskupem fromborskim (!) i z upodobaniem zajmował się astronomią.“ Czego więc nie doczekał się Kopernik, jako polak, tego doczekał się, jako niemiec, bo został arcybiskupem.

Szkoda tylko, że na ten wakans musiał czekać lat przeszło trzysta pięćdziesiąt.

Może i p. Molin za 350 lat zostanie ministrem oświaty.

* *
*

„M o n i t o r“, tygodnik polityczno-społeczny i literacki, wychodzący we Lwowie. Nr. 9.

T r e ś ć: Kontrola publiczna. — „Cześć Wam panowie!“ (skonfiskowane). — Nasza „inteligencya“. — W sprawie emigracyi. — Emancypantki niemieckie. — Moralność in minus. — Wiek dziewiętnasty. — Odwrotna strona rewolucyi. — „Kolejarze“. — Zapiski. — Fejleton: Z szarych końców.

* *
*

Numer 10 ilustrowanego dwutygodnika „Ś w i a t“ zawiera dwie piękne ilustracye do „Hardych dusz“ Z. Sarneckiego oraz dobry drzeworyt przedstawiający jedną z najefektowniejszych scen Hauptmannowskiej „Hanusi“. W części literackiej spotykamy między innemi nazwiska Krechowieckiego, Rawity, Tetmajera, Hösicka i Prokescha.

* *

Nowe pismo czeskie. W Pradze poczęło wychodzić nowe pismo codzienne p. t. „Czeskie Noviny“. W artykule programowym zapowiada redakcya, że stoi na gruncie „narodowego stronnictwa wolnomyślnego“ (młodoczeskiego). Dalej wyraża „dążność do federacyi narodów i krajów, z któremi połączeni jesteśmy historycznie i geograficznie“ ale równocześnie oświadcza, że „najpierw sami dla siebie jesteśmy celem i wierzyć będziemy, że lud czeski jest sam i tylko dla siebie“. W kwestyi ogólno-słowiańskiej wyraża się nowy organ dwuznacznie i mglisto.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. W Berlinie wybuchł strejk mularzy. Obecnie świętuje już 1500 robotników. W Kociebużu 5000 robotników fabrycznych zawiesiło pracę. — Dochody z kolei państwowych w monarchii pruskiej wynosiły w kwietniu r. b. 77.004,000 mr. czyli 3,042,051 mr. więcej niż w kwietniu roku zeszłym. — „Nordd. Volksblatt“ ogłasza dwa tajne reskrypty ministra wojny, w których za pośrednictwem ministra spraw wewnętrznych wzywa naczelnych prezesów, aby władzy wojskowej donosiły, które z osób zaciągniętych do wojska należą do socyalistów lub anarchistów. — Walka wiedeńskich antisemitów z liberałami trwa w dalszym ciągu. Rząd rozwiązał radę miejską.

Teatr i muzyka. Trupa poznańska udała się dzisiaj na występy do Miłosławia, a w przyszłym tygodniu urządzi szereg przedstawień w Pleszewie. Do stałego repertuaru należą: Kraj, Ciotka Kar la, Biedna dziewczyna, Przeor Paulinów, Miód kasztelański i Podróż po Warszawie. — Sarah Bernhardt pożegnała się w tych dniach z Paryżem na całe dwa lata, które spędzi w podróżach po świecie wraz z obecną swą trupą z teatru „Renaissance“. Pierwszym etapem tych występów gościnnych będzie Bruksela, gdzie artystka wydzierżawiła „Theatre de la Monnaie“. Marcela Sembrich, po ukończeniu występów gościnnych w operze k ólewskiej w Berlinie, wyjeżdża niebawem do Londynu, gdzie uczestniczyć będzie w sezonie wiosennym opery włoskiej obok Melby, Tamagna i braci Reszków. — Warszawski korespondent „Kraju“ donosi: „Towarzystwa ogródkowe już szykują się do letniej kampanii. Ma ona być ożywioną i różnostronną. Dyrekcyę „Wodewilu“ obejmuje p. Lucyan Dobrzański, który z towarzystwem swem bawił ostatnio w Moskwie. Dawne „Belle-vue“, przezwane „Teatrem nowości“, dostaje się pod kierownictwo p. Glogera. Chęci nowym dyrektorom nie braknie; czy nie braknie im także środków, to już sprawa inna. Teatrzyki ogródkowe zawsze, niestety, bywają areną rozpaczliwej walki chęci ze środkami. Walka zaczyna się wesoło, z lekceważeniem przeciwności i z wiarą w zwycięztwo, a kończy się... No, nie bądźmy krukami! Zapał i ufność w siebie, zwłaszcza, gdy się złączą z talentem i rzeczywistą miłością dla sztuki, cudów dokazać mogą. Oby dokazały!“ — Eleonora Duse zachorowała na silną neurastenię. Będzie musiała na sześć miesięcy usunąć się ze sceny. — „Śluby Jana Kazimierza“. oratoryum prof. Sołtysa, z tekstem Duchińskiej, zostało ukończone. — Zboiński zjechał do Lwowa na szereg gościnnych występów. Publiczność przyjmuje entuzyastycznie da... ulubieńca. — Teatr stanisławowski rozwija się coraz pomyślniej zwłaszcza z chwilą wstąpienia do spółki dyrekcyjnej p. Władysława Zamorskiego, byłego artysty sceny lwowskiej, dobrego i fachowo wykształconego rutynisty, który 25-letnią pracę sceniczną i nabyte doświadczenie poświęcił dla dobra teatru imienia hr. Fredry w Stanisławowie. Nowa spółka dyrekcyjna postarała się o nabycie najpierwszych utworów dramatycznych, uprosili zarazem na gościnne występy tragika naszej sceny Romana Żelazowskiego, który wystąpi w kilku najlepszych swych rolach „Otello“, „Zbójcy“, „Ludwik XI.“ itd. z końcem b. m. Teatr hr. Fredry bawi obecnie w Kołomyi. — Teatr łódzki wydzierżawił znany komedyopisarz Michał Wołowski.

Zjazdy i kongresy. W Wiedniu odbędzie się 4 do 7 czerwca zjazd ginekologów niemieckich. — Drugi zjazd aptekarzy Polaków z wszystkich trzech zaborów odbędzie się stosownie do uchwały I. zjazdu aptekarzy we Lwowie, w Poznaniu w końcu sierpnia r. b. W tym celu ukonstytuował się w tych dniach w Poznaniu komitet gospodarczy, w którego zarząd wchodzą pp. aptekarze: Szymański jako przewodniczący, Jagielski zastępca przewodniczącego, Szczerbiński podskarbi, Henryk Umbreit sekretarz. Aptekarze, mający zamiar wygłosić jakiekolwiek odczyty w zakres farmacyi wchodzące, winni się zgłosić do przewodniczącego p. Szymańskiego, Piekary Nr. 8.

Odpowiedzi Redakcyi.

L. K. Uwzględniliśmy w feljetonie dzisiejszym.

N. N. Artykuliku pańskiego o wystawowym referencie „Kuryera Pozn.“ rozpływającym się w zachwycie nad „obszernemi, czystemi i nawet ozdobnemi wygódkami ukrytemi w krzakach“ nie zamieścimy. Powiemy jednak tyle: Referenta teatralnego „Kuryera“ zaliczył „Kraj“ petersburski do rzędu fryzyerów i fotografów. Ciekawem byłoby dowiedzieć się, do jakiej kategoryi ludzi zaliczy obecnie referenta wystawowego.

H e n r y k K. Broszurę wydaną nakładem naszym p. t. „Uczucie narodowe“ przez J. Brandesa nabyć można w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu.

M a r y a L. w K r a k o w i e. Druk wiadomej nowelki rozpoczniemy w najbliższym czasie.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 23. Poznań, Niedziela 9 czerwca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Z najnowszych dziejów Szląska,

napisał

Szlązak.

I.

Korespondencye ks. Kamieńskiego zamieszczone w „Przeglądzie“, a torujace drogę wręcz fałszywej opinii o stosunkach górnoszląskich, skłoniły i mnie do zabrania głosu. Godząc się najzupełniej na to, co odpowiedziała Redakcya „Przeglądu“ na ogólnikowe twierdzenia korespondenta, pragnę i ja dorzucić trochę światła do poruszonych przez niego kwestyi, a sądzę, że mam pewne prawo do odezwania się w tej sprawie, ponieważ od lat wielu stoję w samym środku wiru bojowego i mogę o sobie powiedzieć, że znam cały organizm szląskiego ludu i szląskich stosunków.

Ks. Kamieński wspomniał mimochodem o wyborach w Raciborskiem i zaczepił ostro ówczesnych przewodników ruchu raciborskiego. Otóż to właśnie przywiodło mi na pamięć ową wzniosłą chwilę elementarnego porwania się ludu górnoszląskiego przeciwko hamującej wszelki zdrowy rozwój narodowy na Górnym Szląsku partyi Centrum, ową chwilę, któraby mogła była stać się zaraniem lepszej dla nas przyszłości, gdyby tak Wielkopolanie jak i nasi przewodnicy ówcześni byli umieli skorzystać z niej należycie. Niestety stare nasze przysłowie, że mądry Polak po szkodzie, i tu się sprawdziło. Już to jest jedną z najsłabszych stron naszych, że właśnie w takich ważnych chwilach przełomu poradzić sobie nie potrafimy, że zwykle właśnie w takich momentach sami wytwarzamy sytuacye, która wręcz uniemożliwia naprawę bytu naszego.

Tak było i w roku 1893, podczas pamiętnych wyborów do parlamentu niemieckiego.

Sądzę, że sprawa ta nie jest Czytelnikom „Przeglądu“ znaną należycie. Pisma wasze codziennie notowały wprawdzie dość często epizody i epizodziki walki, jaką wtedy toczyliśmy, powtarzały także głosy prasy naszej, ale z urywków tych, wobec notorycznej u Was nieznajomości stosunków szląskich, czytelnicy pism wielkopolskich o faktycznym stanie rzeczy poinformować się nie mogli. Dla tego i ja, zanim przystąpię do szczegółowego skreślenia dziejów tej chwili ważnej, wpierw rzucę okiem wstecz i dam wam krótki pogląd na początki odrodzenia naszego, bo tylko znając przeszłość naszą, wypadki z roku 1893 dobrze zrozumieć zdołacie.

Jest to pewnie wogóle rzadki w życiu narodów objaw, że naród sam, dobrowolnie, dla wątpliwych korzyści w innych stronach, wydał na pastwę nieprzyjaciołom swoim znaczny odłam własnego ciała narodowego, a jeszcze dziwniejszym jest objaw, iż odłam ten traktowano przez wiele wieków prawie wrogo, że ani palca nie wyciągnięto w celu odzyskania go, że zerwano z nim zupełnie wszelką, duchową nawet łączność, że wreszcie dzisiaj, gdy odłam ten sam budzi się do narodowego życia i wyciąga ręce do macierzy, macierz ta okazuje mu obojętność pewną.

Większa część wykształconej publiczności polskiej zna zapewne stosunki włoskie i francuzkie, a może i afrykańskie lepiej daleko, niż stosunki górnoszląskie.

Już to wadą polską pewnie najgorszą była i będzie nasza powierzchowność. Czasem zaprawdę zdawać by się mogło, że umysł polski do głębszego wnikania w zawiłe stosunki absolutnie jest niezdolny. Decydujemy nieraz w ważnych chwilach o losach całego narodu, o przyszłości naszej z taką lekkomyślnością, z takim brakiem zastanowienia się, że jednostkom rozważniejszym serce pęka i gorycz duszę zalewa.

Wybaczcie, że odbiegłem od tematu mego, ale powyższe słowa mimowoli mi się wyrwały, na myśl, że muszę, — chcąc być zrozumianym i sprawie się przysłużyć, wpierw informować o tem, coby powinno już oddawna być jednym z pierwszych rozdziałów naszego historycznego katechizmu narodowego. Nie gniewajcie się na mnie za cierpkie słowa moje, miejcie na względzie to, że odzywam się do Was, braci rodzonych, jako jeden z tych, których wasi praojcowie sami zaprzedali obcym w niewolę.

Ale przystąpmy do rzeczy.

Z wielkiej dzielnicy Szląskiej, dawniej rdzennie polskiej, nawet w zamierzchłych dziejach Staropolską nazwanej, polską pozostała dziś już tylko pewna część Szląska górnego, czyli obwodu rejencyi opolskiej. W początkach bieżącego wieku język polski sięgał jeszcze poza Wrocław, dziś wszystko tam, może z małemi tylko wyjątkami, zniemczone. Przyczyniło się do tego niemało importowane z Niemiec i ludowi polskiemu w siedemnastym wieku narzucone wyznanie luterskie, które pod względem wyznaniowo-kościelnym przykuło go do Niemiec. I rzeczywiście cudem tylko ocalało kilka powiatów, n. p. *sycowski, namysłowski, niemodliński, kluczborski*, ale pociechy ztąd nie ma wielkiej, ponieważ ludność ta protestancka i dziś jeszcze powoli ale stale się wynaradawia. Naturalna rzecz, że do chat, gdzie obok portretu Lutra wisi portret króla pruskiego, nietylko jako monarchę czczonego, ale głównie jako głowę kościoła, — niemczyzna łatwiejszy ma dostęp, anizeli do chat ludu katolickiego, którego wiara w inną wskazuje stronę.

Polskim w całem znaczeniu tego słowa pozostał więc już tylko katolicki lud *górnoszląski*, a mianowicie w powiatach: *opolskim, strzeleckim, bytomskim, tarnogórskim, katowickim, pszczynskim zaberskim, gliwickim, rybnickim, kozielskim*. oraz częściowo w *prudnickim i raciborskim*. Wymieniam te dwa powiaty, które wypadkami politycznemi w ostatnim czasie stały się głośne i o które wasz korespondent zawadził, na ostatku, nie dla geograficznego ich położenia, lecz dla tego, ponieważ, co zapewne ogromnej większości czytelników waszych obcem będzie, procent ludności polskiej w nich najmniejszy. W powiecie *prudnickim* ludność niemiecka, osiadła tam od kilku wieków, i ludność z biegiem lat zniemczona dorównuje prawie co do liczby ludności polskiej. W powiecie *raciborskim* znów mieszka co prawda blisko 90 procent *Słowian*, ale blisko połowę stanowią *Morawianie*, lud wielce zaniedbany tak pod względem oświaty, jak i moralnie. Czesi austryaccy wcale o tych braci swych się nie troszczą, zaś *polskich* gazet Morawianie nie rozumieją i dla tego ich nie czytują; przy dość silnej zatem germanizacyi przez Kościół, nie mówiąc już o germanizacyi urzędowej szybko się niemczą i pewnie niezadługo już utoną w morzu niemczyzny, jeźli jakie nieprzewidziane nie zajdą wypadki. Tu i owdzie tylko napotkać można Morawianina, łaknącego oświaty i czerpiącego ją z gazety *polskiej*, przeważnie z „*Nowin Raciborskich*“. Ale są to wyjątki bardzo, bardzo rzadkie, pozostające bez wpływu na ogół ludności morawskiej. W roku 1893, gdy się okazało przy wyborach do parlamentu, że stronnictwo Centrum bez pomocy polskiego ludu o własnych siłach w powiecie raciborskim kandydata swego przeprowadzić nie zdoła i gdy na chwilę panowała wątpliwość, czy lud morawski przypadkowo, instynktownie nie stanie jednak po stronie polskiej, zaczęli księża niemiecko-morawscy wydawać w Raciborzu pismo morawskie, pod tytułem: „Katolicke Nowiny“. Ale pismo to, redagowane zresztą w duchu centrowo-niemieckim, nie zdobyło sobie znaczniejszego zastępu czytelników, ponieważ lud morawski nie ma zrozumienia dla spraw politycznych. Lud morawski nie stanął też po stronie polskiej, bo w swym indyferentyźmie nie pojmował wcale, o co chodzi, o co lud polski walkę toczy, chociaż ze strony polskiej nie brakło starań, aby go objaśnić. Szedł więc ślepo za głosem niemieckich swych duszpasterzy i jemu głównie kandydat centrowy za-

wdzięczał zwycięztwo, — o czem później jeszcze obszernie pomówię.

Wróćmy tymczasem do ludu polskiego. Jest go razem w wymienionych powiatach przeszło milion. Dokładnie liczba ta nie da się oznaczyć, bo statystyce urzędowej, jak wiadomo, pod tym względem ufać zbytnio nie można, gdyż zalicza ona każdego Polaka z niemieckiem lub z niemiecka brzmiącem nazwiskiem, nadto wszystkich urzędników etc. do narodowości niemieckiej. Statystyka urzędowa podaje liczbę Polaków na Szląsku zamieszkałych na ca. 990 tysięcy głów.

Jakim sposobem ten stosunkowo zawsze jeszcze wielki odłam ludu polskiego ocalał przed zalewem germanizacyi? Otóż złożyło się na to zapewne niemało czynników. Nasamprzód to, że Szląsk górny najdalej oddalony był od krajów dawniej już zniemczonych, n. p. od Saksonii dzisiejszej i Marchii Brandenburgskiej. Powtóre mniejszy zapewne stosunkowo napływ kolonistów niemieckich, niż na Szląsku dolnym. Szląsk górny rozciągający się przeważnie po prawej stronie Odry, to kraj niezbyt urodzajny, który w dawniejszych wiekach ogromnemi pokryty był lasami. Skarbów ukrytych w ziemi, z wyjątkiem może srebra, nie znano wówczas jeszcze, a ziemia sama ani położenie nie nęciły obcych przybyszów. Trzymali się oni żyźniejszego lewego brzegu Odry i bliskości gór, i na tym brzegu dotarli daleko, bo aż za *Głubczyce* i *Karniów*. Ta kolonizacya podnóża Karkonoszy, Sudetów i części Beskidów była krokiem politycznie bardzo mądrym, ponieważ rozdzieliła szerokim pasem na przestrzeni mil kilkudziesięciu dwa pobratymcze narody: Czechów i Polaków. Jednakże i ta kolonizacya nie była tak silna, iżby mogła była wpływać na dalsze okolice i nie mięszała się też wcale z tubylcami. Inne okolice Górnego Szląska, z wyjątkiem miast, pozostały wolne od napływu niemczyzny.

Dalej przyczyniła się zapewne do utrzymania polskości górnoszląskiego ludu religia katolicka, która właśnie w napływowej ludności niemieckiej okolic dolno-szląskich, już w początkach siedemnastego wieku po większej części sprotestantyzowanej, najzaciętszego miała wroga. Nie należy zresztą zapominać, że znaczna część Górnego Szląska, należała jeszcze do początku bieżącego stulecia do *dyecezyi krakowskiej*. Wielu wtedy kapłanów górnoszląskich kształciło się w Krakowie, gdzie naturalnie nie uczyło się germanizować. Jakkolwiek okoliczność ta dziwnym sposobem nie przyczyniła się do większego zbliżenia się ludu górno-szląskiego do ówczesnej Polski, ani nawet do złagodzenia nieszczególnego wyobrażenia, jakie lud górnoszląski miał o Polsce i o Polakach, — tak z drugiej strony wpłynęła korzystnie na utrzymanie języka ludu w względnie dość wielkiej czystości. Kraków sam, pełen kościołów, klasztorów, duchowieństwa, wywierał wielki pociąg na religijnie usposobionych Górnoszlązaków, na czem również język ludu źle nie wychodził. Nie brakło pewnie i innych przyczyn, na pozór mniej znaczących, ale za to głębiej sięgających do serca i umysłu ludu, dość, że Górny Szląsk pozostał polskim do ostatniej chwili i że potrzeba było tylko lekkiego podmuchu, aby iskrę polskości zamienić w płomień szeroki.

Bo, że Górny Szląsk jest dzisiaj polskim i że obok więcej tradycyjnego niż rozumowego przywiązania do mowy polskiej budzić się zaczyna coraz bardziej także poczucie narodowe, to rzecz pewna. Z tym faktem rząd pruski już się pogodzić musi, i może być przekonanym, że wszelkie środki zmierzające do gwałtownej i przyspieszonej germanizacyi tylko wręcz przeciwne skutki wywierać będą. Z drugiej jednakże strony mylą się i ci z pośród nas, którzy sądzą, że poczucie narodowe ludu górnoszląskiego jest najzupełniej takie samo, jak poczucie narodowe, ożywiające serca Polaków poznańskich Często bardzo słyszałem z ust ludzi, którzy przybyli z innych dzielnic po raz pierwszy, i przypadkowo uczestniczyli w jakiem zebraniu politycznem ludu górnoszląskiego, wyrazy rozczarowania, zdanie, że to jednak jeszcze „*niewyrobieni*“ *Polacy*, że duch nasz nie jest szczerze i prawdziwie polskim, że już zanadto zatruty jest obczyzną. *Pozornie* mogłoby to spostrzeżenie wydawać się słusznem zupełnie. Sześciowiekowe odłączenie od macierzy zmieniło zupełnie fizyonomią szląskiego ludu polskiego i nie pozostało bez wpływu na jego myśli i uczucia, a nawet na zewnętrzną stronę, na strój i twarze nasze. Z wyjątkiem Rozbarka pod Bytomiem, gdzie jeszcze utrzymały się stroje ludowe (jakkolwiek pewnie nie pierwotnie polskie), — sukmany chłopskiej napróżno byś u nas szukał. Chłop nasz i pod tym względem rychlej niż u was „cywilizować“ się zaczął — zmienił strój, a ze strojem i sposób myślenia. Lecz ważny to moment w życiu naszem, — skończę dziś na tem, a obszerniej rozwiodę się o nim w następnym artykule.



POLITYKA.

Walka „Koła polskiego“ z społeczeństwem.

Żywiej niż kiedykolwiek ozwała się w najświeższym czasie sporna kwestya stosunku posłów naszych do społeczeństwa. Naród bowiem poczuwał się do obowiązku przypomnieć wybrańcom i mandataryuszom swoim, że pod żadnym warunkiem przyznać im nie może przywileju niezawisłości, — zwolnić ich z obowiązku liczenia się z opinją wyborców i składania rachunków przed tymi, w imieniu których przemawiają z trybuny sejmowej i parlamentarnej. Historja projektu wojskowego, ustawy przewrotowej i referatów z uchwał i głosowań Koła wysunęła trzykrotnie tendencyą zupełnego odgraniczenia posłów od społeczeństwa. Powiedziano nam pośrednio i bezpośrednio, że polscy deputowani mają prawo uważać się za rodzaj politycznej ambasady w Berlinie, zaopatrzonej w „*plain pouvoir*“ działania, nie zobowiązanej do żadnych względów na życzenia ogółu, nie składającej żadnych rachunków społeczeństwu i liczącej się co najwyżej z dyrektywą tej potężnej, choć nieuchwytnej, ręki, której przędzę polityczną, otoczoną mgłą i dymem kadzideł, odgadujemy od pewnego czasu w wszystkich zakątkach życia publicznego. I powiedziano nam dalej, że Koło polskie utraciło wprawdzie w szerokiej rzeszy wyborców aureolę popularności, ale, że strata taka jest tylko dowodem politycznej trzeźwości, której tłum szeroki nie hołduje nigdy. A gdy wołania i skargi społeczeństwa rozbrzmiewały w całym zaborze pruskim coraz energiczniej i coraz groźniej. wtedy pouczono nas, że trudno z Poznania sądzić o Berlinie, że politykę jedynie w stolicy prowadzić można, że są tysiące motywów subtelnych i splątanych intryg, których z daleka zgłębić i wyzyskać niepodobno, że wreszcie urzędowa komunikacya między Kołem a społeczeństwem byłaby śmiertelnem grzechem w dziejach dyplomacyi. Naród słuchał w zdziwieniu tych ogólników mistycznych wywierających zrazu wrażenie tajemniczej potęgi ducha i jakiegoś politycznego czarnoksięstwa, a w rzeczy samej pustych i przedstawiających jedynie wartość lśnącej dekoracyi odwracającej uwagę od jądra spornych zagadnień. Frazes jednak posiada tę właściwość, że błyska i ginie, że olśniewa na chwilę tylko i opozycyę może stłumić i powstrzymać, lecz nie zabja jej

---

WŁADYSŁAW RABSKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(*Dokończenie.*)

Scena IV.

Wolski, Wisłowski, Kostecki.

(*Długa chwila milczenia.*)

WISŁOWSKI.

Jest to ostatnia wizyta, którą w domu pańskim składamy. Jako założyciel Trybuny mam obowiązek czuwać nad jej losem. Panu odstąpiłem to dziecko moje bezinteresownie, a tyś je na manowce sprowadził i wrogom zaprzedał.

WOLSKI.

Dość!... proszę was...

WISŁOWSKI.

Tam przed redakcyą tłum przeciwników święci tryumfy Wareckich, a my szyderstwem ścigani opuszczamy plac bitwy. To pańskie dzieło. Prawem naszem między lud zawiedziony cisnąć zdrajcy nazwisko, a chociaż kłam zadasz, — lud nie tobie, ale nam uwierzy.

WOLSKI.

Mordujcie!

WISŁOWSKI.

Skrzywdziłeś nas, lecz my kamieniem za kamień płacić nie chcemy, bo dłoń twoja długo była uczciwą i czystą. Ocalimy przed pręgierzem pana, — jest jednak jeden warunek. Złożysz pan natychmiast redakcyę Trybuny w ręce pana Kosteckiego i miasto nasze opuścisz. O cenę mniejsza! Dla sprawy publicznej gotów jestem najwyższą poświęcić.

(*Chwila milczenia.*)

KOSTECKI.

Pan się namyślasz? Sądzę, że wybór jest łatwy, bo w razie odmowy obok starej powstanie nowa Trybuna. I choćbyś tysiąc razy skrył się pod zasłoną tych niemych popiołów (*wskazuje na kominek*), nasz bicz cię dosięgnie. Lud ufał Wolskiemu, ale mąż Wareckiej paść musi pod ciosem oskarżeń. Rozważ to dobrze! Fałsz nie zwycięży u ludu, choć dokumenty spalone i jasnych nie ma dowodów. Zresztą hrabiowskiemu szwagrowi nie do twarzy z demokratyczną Trybuną.

WOLSKI.

Ani słowa więcej! Rana tak piecze... wy ją szyderstwem nie palcie. Warunek był już przyjęty, zanim jeszcze został stawiony. Akt urzędowy znajdziecie u notarjusza. Trybuna — wasza!

WISŁOWSKI.

A cena?

WOLSKI (*z oburzeniem*).

Panie Wisłowski! (*hamując się*) Lecz prawda, ja nie mam prawa na nic się dzisiaj uskarżać.

WISŁOWSKI.

Trybuna to kapitał, a my darowizny nie chcemy.

WOLSKI.

O! panie Wisłowski. Odstępując mi niegdyś Trybunę, nie żądałeś złota, tylko wierności i przywiązania. Dziś to wszystko zdeptane nogami. Weźcie Trybunę, kochajcie ją całą duszą i niechaj żyje szczęśliwa... A nie złorzeczcie mi... Bo gdybyście posłuchać mogli tragedyi serca ludzkiego, gdzie uczucia jak dzikie zwierzęta szamocą się i pożerają, to każde słowo klątwy w łzę by się zmieniło.

KOSTECKI.

Żal mi cię, Zygmuncie, ale wiara w ciebie stracona i sztandar nasz chwieje się w rękach omdlałych.

WOLSKI (*głucho*).

Tak... dobrze... Już się stało...

(*Słychać dzwonek w przedpokoju.*)

WISŁOWSKI.

A zatem rzecz skończona. Inaczej być nie może.

(*Za sceną słychać głos Marty:* Ojciec! Karol!)

nigdy. To też protest społeczeństwa przeciw „Kołu polskiemu“ cichnął wprawdzie od czasu do czasu, lecz następnie z podwójną siłą znowu się pojawiał, a dziś jest tak potężny, tak namiętnie uderza w zatarasowane bramy Koła polskiego, że jeżeli posłowie nie zdecydują się białej wywiesić chorągwi i przyjąć punktów pokoju, które im naród dyktuje, wtedy ta twierdza wraz z obrońcami swojemi w proch runąć może przy najbliższych wyborach.

Dziś jednak Koło nie myśli jeszcze o kapitulacyi, a znamiennym objawem tej odporności w walce z społeczeństwem polskiem jest odpowiedź posłów do sejmu pruskiego na rezolucyą poznańską, żądającą zerwania z dotychczasową zasadą bezwzględnej tajności obrad i uchwał. Koło sejmowe zasłoniło się, jak wiadomo, szeregiem motywów zredagowanych w dniu 27 listopada 1879 r. w których wyraźnie oświadcza, że „nie może i nie chce tworzyć urzędowego biura korespondencyjnego dla publicystyki“, że „powołanie się na przykład Koła sejmowego w Wiedniu“ uważa za niesłuszne (dla czego? Prosimy o bliższe uzasadnienie), że „dyskrecya“ jest nieodzownym warunkiem polityki i t. d. Po za temi ogólnikami znajdujemy w owej rezolucyi z przed 16 laty jeden ustęp, który wywiera wrażenie pewnej koncesyi, w istocie jednak jest znowu tylko świecidełkiem zręcznie przypiętem, a kryjącem niewzruszoną zasadą bezwzględnej tajności.

Ustęp ten brzmi:

„Koło same, ilekroć tego zachodzi potrzeba, uchwały swoje publikuje w sposób urzędowy z podpisem bióra swego, a nie zabrania członkom udzielania wiadomości o czynnościach i zapadłych uchwałach na własną odpowiedzialność za treść i formę“.

Cel powyższego oświadczenia jest jasny. Ma ono podziałać na wyborców jak proszek uspakajający, — jest słodką obietnicą komunikacyi między Kołem a społeczeństwem, — zawiera jakąś nieokreśloną zapowiedź złamania praktyk dotychczasowych, a w rzeczy samej nie mieści w sobie żadnego Imperatywu, żadnego zobowiązania, żadnego ściślej oznaczonego ustępstwa. Wartość owej uchwały Koła sejmowego ujawnia się najwyraźniej w zwierciadle 16 letniej polityki naszej. Chcąc ją sprawiedliwie ocenić, należy zapytać, jak Koło polskie słowa swoje przetłomaczyło na język czynów, czy owa pozorna *„względność“* tajemnicy nie okazała się w praktyce *„bezwzględną* tajnością“, czy obietnice dyskretne, zawarte w rezolucyi, spełniono i jak je spełniono? Na wszystkie te pytania odpowiada nam zwierciadło szesnastoletniego życia w sposób wręcz negatywny. Koło polskie nie publikowało żadnych uchwał i żadnych rezultatów głosowań swoich, a korespondencya jego z społeczeństwem ograniczała się do prostych ogłoszeń, że pierwsza sesya w nowej kadencyi odbędzie się dnia tego i tego, że pogłoska czasopism, jakoby ten czy ów poseł na posiedzenia nie uczęszczał, jest błędną. Nic więcej!

I blichtrem okazało się również twierdzenie, że Koło „nie zabrania członkom swoim udzielać wiadomości o czynnościach i zapadłych uchwałach na własną odpowiedzialność za treść i formę“. Faktem bowiem jest, że Koło polskie wyrażało stale niezadowolenie swoje, ilekroć którykolwiek z posłów przemówił otwarcie do społeczeństwa, — faktem również jest, że posłowie, bądź to steroryzowani takiem postępowaniem, bądź przestraszeni niepopularnością własnej polityki, odmawiali wyborcom wszelkich informacyi, mając zawsze w pogotowiu odpowiedź, że „zasada tajności“ nie pozwala im indywidualnej wypowiadać opinii i zdradzać społeczeństwu, jakie przekonania reprezentują poszczególni posłowie. Znaliśmy zatem Koło, nie znaliśmy posłów.

Czyż w obec tego dziwić się można, że społeczeństwo, pouczone praktyką życia publicznego, przestało wierzyć w doniosłość wyżej cytowanej rezolucyi. Przekonawszy się na długiej lat przestrzeni, że elastyczne obietnice zawarte w uchwałach z listopada 1879 r. nie posiadają żadnej siły obowiązującej, że są dźwiękiem bez treści, mamidłem durzącem społeczeństwo, etykietą na pustej butelce, parawanem kryjącym *istotną bezwzględność tajemnicy*, zażądał cały zabór pruski niemal jednomyślnie, aby Koło polskie zbudowało most inny, silniejszy i szerszy między sobą a społeczeństwem.

Na żądanie to jednak odpowiedziano nam rezolucyą z przed szesnastu laty: „Nic więcej ofiarować nie możemy. Bezwzględna tajność uchwał nie istnieje. *„Status quo ante“* pozostać musi“.

Wybrańcy i pełnomocnicy narodu rzucają zatem wyborcom swoim powtórnie rękawicę. Ta walka niezwykła jest chorobliwym objawem zabagnionych stosunków naszych i prędzej czy później może społeczeństwo przyprawić o straty dotkliwe, siejąc po całym kraju zamieszanie i walkę burzliwą.

Jeżeli jednak walka ta staje się konieczną, aby strumień naszego życia politycznnego w głębsze skierować koryto i głębszą wziąć skibę pod zasiew zdrowego ziarna, jeżeli żądania nasze płyną z rosnącej dojrzałości społeczeństwa, które do roli pospolitego pionka zniżać się nie chce, poczuwając się do obowiązku nietylko głosowania na posłów, lecz *poznania* i *sądzenia* reprezentantów swoich, jeżeli wreszcie rzucone zostało pytanie, czy posłowie rządzą narodem czy naród posłami, to my, aczkolwiek zgody całą duszą pragniemy, rzuconą rękawicę podejmujemy ochoczo.

Żądania nasze streściliśmy już w całym szeregu artykułów. Dziś zatem nie pozostaje nam nic innego, jak rekapitulując dawniejsze wywody, raz jeszcze powtórzyć, że za nieodzowny postulat normalnego rozwoju stosunków zaboru pruskiego uważamy przedewszystkiem otwarte wyznanie, jakie stanowisko w poszczególnych kwestyach politycznych zajmował poseł-jednostka. Jest to żądanie tak logiczne, tak naturalne i tak konieczne, że trudno zaiste zrozumieć ten zacięty opór, który Koło polskie tu właśnie objawia, — trudno zrozumieć, że istnieje społeczeństwo powierzające losy swoje ludziom, którzy w chwili przyjęcia mandatu stają się księgą zamkniętą. Nam mówią tylko, jak Koło głosuje, ale nikt nam nie powie, jak poseł głosował. My wiemy tylko, że mocą większości zapadają uchwały i na podstawie solidarności mniejszość im ulega, ale imię tych głosów za i przeciw oddanych pozostaje tajemnicą. My słyszymy nazwiska posłów, ale są to dźwięki bez treści, — czytamy ich mowy, ale są to fonograficzne popisy *Koła*, nie głos przekonań *jednostki*. Nie znamy ludzi i głosujemy na oślep, bez kontroli, bez przekonania, z tysiącem wątpliwości w duszy, a w okół krążą legendy i najfantastyczniejsze opinie o przedstawicielach narodu. Odgadujemy rebusy, wiecznie szukający i wiecznie niepewni, czy nie jesteśmy ofiarą złudzeń i mistyfikacyi, tumaniących bezustannie społeczeństwo.

Takiego położenia dłużej cierpliwie znosić niepodobno i posłowie polscy muszą się zdecydować na publiczne sprawozdania z głosowań swoich w obrębie Koła. A oprócz tego nieodzownego i pierwszorzędnego postulatu społeczeństwo pragnie niezmiennie, aby w tym murze nieprzejrzystym, dzielącym Berlin od Poznania, wybito bramy za przykładem Wiednia. My nie żądamy zerwania wszystkich osłon i kulis politycznych, bo nie zapominamy ani na chwilę, że tajemnica jest często gwarancyą zwycięstwa, że dyplomacya nie spowiada się z wszystkich motywów działania i kart nie odsłania, że posłowie wraz z mandatem otrzymują od społeczeństwa pewien kredyt moralny, lecz mamy prawo wymagać, aby nam przedstawiciele narodu odsłonili przynajmniej ogólne zarysy politycznej pracy. Pragniemy poznać choć w szkicu, choć w fragmentach tylko przebieg i treść posiedzeń, — pragniemy wiedzieć, kto był, kto mówił, kto pracował za nas, — pragniemy jednem słowem peryodycznych referatów z sekretaryatu Koła.

Posłowie nasi nie mają ucha dla żądań

KOSTECKI (*wskazując na drzwi*).
Tam twoja klątwa i śmierć!
(*Wychodzi z Wisłowskim.*)

WOLSKI (*sam*).
Co to znaczy? Wareccy tutaj? (*Wchodzi Marta, Melanja, Warecki, Karol.*)

Scena V.

Wolski, Warecki, Karol, Marta, Melanja.

MARTA (*biegnie ku Wolskiemu*).
Zygmuncie! Widzisz! Przyjechali. Dobroć twoja ich rozbroiła i wszystko zapomniane na zawsze.

WARECKI.
Panie Wolski! Marta doniosła nam wczoraj, że ocaliłeś nazwisko Wareckich przed szykanami ulicznej gawiedzi. Wiem, że sprzedaż Karłowic była niekoniecznie stósowną, ale zrozumiesz pan, że tylko fatalna presya stosunków popchnęła nas w ramiona kolonizacyi, a wobec opinii, która nie z motywami, lecz z faktem tylko się liczy, zdecydował się nieboższczyk Ruszczewski odegrać rolę parawanu. Kandydatura Karola zawisła od tej niewinnej symulacyi, a twojej uczciwej dyskrecyi, mój zięciu, zawdzięczamy zwycięztwo. Dziękuję panu serdecznie i przyjmuję do grona rodziny. Pojmuję dobrze, że młody talent wyszumić musi, więc najmniejsza o przeszłość. Zapomnijmy o niej i *requiescat in pace.*

KAROL.
Z twoją głową, panie Wolski, i naszemi wpływami trząść możemy prowincyą całą. Więc odtąd zgoda i przymierze. Oto ręka moja. (*Wyciąga rękę.*)

WOLSKI (*zapatrzony błędnym wzrokiem w Wareckich, pochyla się jakby do skoku*).
Za odstępstwo, za hańbę, za zdradę wy dłoń mi ścisnąć pragniecie?! Ślina uczciwemu, a upadłym pokłon! (*śmieje się kurczowo*) Pójdźcie tu do mnie, uderzcie w dzwony, zwołajcie zgraję dumnych patrycyuszów i na kolana przedemną! Jam was ocalił, jam z herbu Wareckich zmazał hańby plamę, jam zdradził lud!

MARTA.
Zygmuncie!

WOLSKI (*do Marty*).
Tak! módl się do mnie i w prochu pełzaj i stopy mi całuj, bo dla Wareckich pręgierz postawiono, a pod pręgierzem stanął twój małżonek. Zbliż się tu, pani, i scałuj ślinę, którą mnie oplwano i ciałem swojem owiń mnie jak wąż, bo w tym domu zimno i ponuro, tylko ślina pali mnie na twarzy.

WARECKI (*który wraz z Karolem cofnął się przerażony*).
Panie Wolski! Tracisz równowagę, oszalałeś chyba.

WOLSKI.
O! nie, panie teściu! Jam dzisiaj zdrowszy, niż kiedykolwiek. Gwebrem jestem który się modli do nowego słońca i śpiewa, śpiewa, aż mu serce pęka. O! bo też to dzień wesela i szczęścia, bo mi tak spieszno na ojbowskie łono Wareckich, że w piersiach dech mi zamiera (*śmieje się na całe gardło*). Ha! to mi sojusz. Brud z brudem, trzy cyfry potężne i ten ułamek niewieści (*wskazuje na Martę*).

KAROL.
Ojcze! pójdźmy ztąd. Marta omyliła się. Ten szaleniec nie dorośnie nigdy do rodziny naszej. To człowiek chory.
(*Zwraca się ku wyjściu*).

WOLSKI (*zasłaniając sobą drzwi*).
O! za pozwoleniem. Tu wasze miejsce, przy Marcie. Ptak uciekł z klatki złocistej, ale zatęsknił i wraca w pokorze. Niech leci, to lepiej dla nas obojga.

MARTA.
Boże! Co ty mówisz?

WOLSKI.
Tu przełom Marto! Każde z nas pójdzie inną życia drogą, bo wspólna ścieżyna za ciasna dla nas obojga.

MARTA.
Zygmuncie! ty straszny jesteś.

WOLSKI.
Stało się. Przedemną droga pokuty, i sam w nią pójdę, bez ciebie.

wyborców i ufając w kwietyzm narodu, mniemają, że do energiczniejszej akcyi nikt się nie zerwie. Niech drzemią w słodkim optymiźmie, a wrzenie rość będzie coraz namiętniej, aż w przeddzień wyborów stanie przed posłami jako potęga, przed którą ugiąć się muszą lub — zginą. Tam, gdzie całe nieomal społeczeństwo walczy z posłami, rezultat zapasów wątpliwym być nie może. My wybieramy posłów, — więc naszem być musi zwycięstwo.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Wychodząca w Berlinie „*Gazeta Polska*" rozwija w Nr. 42 myśl następującą:

„Dwa czynniki składać się winny — zdaniem naszem — na to, abyśmy korzystnie czynną obronę przeciw Spółce antypolskiej prowadzić mogli: zorganizowanie w Poznaniu towarzystwa ku popieraniu polskiego przemysłu i handlu, a na obczyźnie towarzystwa celem popierania powrotu do kraju polskich przemysłowców.

Nasamprzód pomówimy o ustroju potrzebnym u nas na obczyźnie, ażeby kraj korzystać mógł z małej części wychodźtwa, przedstawiającej dlań ekonomiczną wartość.

Zdarzało się n. p. dawniej, że z Poznańskiego pisał ktoś do prywatnych osób w Berlinie o przysłanie mu zdolnego przykrawacza, krawca lub szewca, o czeladnika stolarskiego i t. d. Zapytany mógł na podstawie swej znajomości rzeczy i osób proponować komuś wyjazd, ale zdarzyć się mogło, że nikogo nie znalazł chętnego, albo też chętni do wyjazdu nie posiadali potrzebnego na podróż czy też na uregulowanie swych tutejszych stosunków funduszu, i t. d. — a na staraniach potrzebnych schodził czas, i nieraz nikła możność wyjazdu; w najlepszym zaś dla wyjeżdżającego razie tracił na zwłoce czekający majster.

Gdyby istniało towarzystwo z odpowiednim funduszem, zgłaszaćby się do niego mógli wszyscy ci, którzy by w danym razie do kraju wyjechać chcieli; zarząd towarzystwa, złożony z ludzi światłych i bezstronnych, radziłby się co do uzdolnienia zawodowego ludzi wysełanych do kraju, mężów zaufania i starszych osób fachowych wybranych na razie z łona tutejszych towarzystw. Później, liczba mężów zaufania uzupełniać by się mogła przez przybieranie i przez wybory ogólne.

Co do sposobu udzielanych, możnaby im nadać formę bezprocentowych pożyczek na czas nieograniczony; w ruchu funduszów zapisywałyby się jako wydatki, podczas gdy zwrot którejkolwiek do dochodów by się zaliczał. Nakładając każdemu odbierającemu zasiłek moralny obowiązek zwrotu — w razie możności — odbiera się wsparciom pewne dla niejednego przykre znamię darowizny; tem więcej zasługuje to na uwagę, jeżeliby zarząd kasy włączono do zarządu „Przytuliska".

Zresztą uwzględniać powinno towarzystwo przedewszystkiem członków swych, coby pobudzało młodych przemysłowców do chętniejszego przystępowania doń.

Oprócz wysyłania do kraju potrzebnych tam pomocników przemysłowych, mogłoby Tow. nieraz także przysłużyć się samodzielnym przemysłowcom, którzy posiadając na obczyźnie własny interes, dający im utrzymanie, ale nic nadto, chętnieby osiedlili się w kraju, przekonani, że z nabytem tu doświadczeniem potrafią tam równie zarobić na kawałek chleba — ale nie mają czasu i zasobów potrzebnych dla wyszukania najdogodniejszego miejsca, jak i zajęcia się sprzedażą korzystną swego tutejszego interesu. Koszta i trudy połączone ze sprawą sprzedaży interesu w wielkich miastach są, jak wiadomo, nieraz bardzo wielkie — to też Tow., podejmując się tego trudu, przeprowadzając odnośną korespondencyą, płacąc ogłoszenia i t. p., i uskuteczniając w ten sposób korzystnie sprzedaż drobnych szczególnie interesów (n. p. składu obuwia i t. p.) ułatwić by mogło niejednemu przemysłowcowi powrót, od którego tylko te trudności i wydatki go powstrzymują. W takich razach interesenci chętnie by nawet za pośrednictwo płacili małe wynagrodzenie, obowiązując się zresztą zwracać towarzystwu poniesione przezeń koszta w przeciągu oznaczonego czasu."

Do „*Gazety Toruńskiej*" (Nr. 126) donoszą z Nowego:

„Jak wogóle wszędzie tak samo i my robiliśmy przygotowania z upiększeniem bram tryumfalnych etc. na przyjazd X. Biskupa. Zrobione były 4 bramy, na których napisy: pierwszy polski „Witamy", na dwóch drugich niemieckie „Herzlichst Willkommen", a na ostatniej łaciński napis. Pierwszy polski napis rozkazał p. burmistrz Holtz zdjąć. Gdy pomimo kilkorazowego zawezwania zwróconego do mężczyzn czynnych przy dekoracyi bram nie usłuchano, pozwoliła sobie policya zdjąć napis. Również u obywatela S. Kitowskiego był napis na jego własnym budynku „Witamy". Gdy pan K. również mimo nakazu policyi nie zdjął napisu, uczyniła to policya. Wskutek tego wysłał ksiądz proboszcz dr. Muszyński depeszę z zażaleniem do prezesa rejencyjnego w Kwidzynie zkąd nadeszła krótka przed przyjazdem X. Biskupa odpowiedź „Napis polski może pozostać lecz obok tego w równej wielkości na tym samym transparencie powinien być niemiecki."

W sprawie odmownej odpowiedzi udzielonej przez Koło polskie w sejmie pruskim obywatelom poznańskim, żądającym, aby posłowie nasi zerwali z zasadą dotychczasowej tajności uchwał, zamieszcza „*Goniec Wielkopolski*" w Nr. 127 między innemi takie uwagi:

„Wynikiem tej tajemniczości, jaką się Koła nasze z widoczną lubością otaczają, będzie z jednej strony absolutna niechęć do spraw publicznych u tych, ktorzy nie umieją być wytwalemi we walce o zasady, z drugiej strony rozgoryczenie tej części społeczeństwa, która sine ira et studio pragnie reformy nie dla tego, żeby jej się ten lub ów poseł nie podobał, lecz dla prawdziwego postępu i rozwoju ideji rozumno-demokratycznej, na której polega przyszłość nasza pod zaborem pruskim.

...Spamiętajmy sobie odpowiedź Koła sejmowego i rezolucyą jego z roku 79tego. Gdy przyjdzie czas nowych wyborów, będziemy żądali od posłów deklaracyi, że zaprowadzą reformę i stawimy im to za warunek wyboru, jako pacta conventa

Tym sposobem jedynie wniosek posła Głębockiego z czasem powróci na stół obrad i zyskać może zwycięztwo. Dzisiaj atoli zapiszmy mu wdzięczność i uznanie w sercach naszych za stanowisko, jakie zajął w imieniu nas wyborców, a życzmy sobie, aby więcej ludzi podobnych przekonań znalazł w przyszłej kadencyi między swymi kolegami.

Co się zaś tyczy Koła parlamentarnego, to nie łudźmy się płonną nadzieją i nie liczmy na lepszą odpowiedź jak od Koła sejmowego Mieliśmy nadzieję, że Koło sejmowe przeprowadzi zbawienną reformę — o parlamentarnem nawet tego niestety powiedzieć nie możemy; panuje tam większość wygodno-konserwatywna, która wtenczas tylko przemawia „do narodu" — gdy chodzi o „nieme potępienie," którego z liberalnych kolegów, lub o deklaracyą, że „potępia się" to a to pismo za to, że pisze prusakofilom prawdę. Wogóle parlamentarne Koło lubi wszystko „potępiać" prócz win własnych, militaryzmu, nowych podatków, ustaw przychylnych dla agraryuszy i zależności od centrum, w której obecnie tkwi po same uszy.

Pod tytułem: „Do Rzymu!" zamieszcza „*Orędownik*" w Nr. 123 następujące uwagi:

„Gazety zachodnio-pruskie i to „Grudziądzka" i „Gdańska", wziąwszy pod bliższą rozwagę smutne wypadki sztumskie, przyszły do przekonania, że innej drogi nie ma, jak tylko sprawę tę przedłożyć Stolicy Apostolskiej Obie gazety napisały obszerniejsze artykuły i dobrze projekt wysłania żalów ludu polskiego do Rzymu uzasadniły.

Obie wypowiadają zdanie:

1) że germanizacya przez Kościół przybiera w Prusach Zachodnich i Wschodnich coraz większe wprost zastraszające rozmiary;

2) że jeżeli to tak dalej pójdzie, to pewna część ludności polskiej z niechęci do księży germanizatorów przejdzie na protestantyzm i w tych okolicach protestantyzm będzie się zwiększał, a katolicyzm kurczył.

3) że germanizacya przez księży zaszkodzi zatem więcej Kościołowi katolickiemu, aniżeli narodowości polskiej.

„Gdańska" radzi, żeby w żalach ludu polskiego do Ojca św. objąć stosunki nie tylko warmińskie, ale i zachodnio-pruskie, a więc z pod dwóch Biskupów. Jej odnośne uwagi w tym punkcie podajemy poniżej.

„Grudziądzka" radzi, żeby w tym celu zwołać więc i z wieca posłać skargę do Rzymu, opatrzoną podpisami ludu polskiego.

Co do propozycyi „Gdańskiej" nasze zdanie jest takie, że nie należy mieszać spraw dyecezyi warmińskiej z sprawami dyecezyi chełmińskiej, bo w żalach ludu polskiego łatwo się może wykazać, że za to, co się tam dzieje, spada pośrednio także pewna odpowiedzialność na Biskupów. I wtedy trzebaby się w Rzymie zwrócić od razu przeciw dwom Biskupom. Byłaby to naszem zdaniem taktyka bardzo fałszywa i jeżeli nasz głos coś znaczy, to usilnie radzimy: nie występować od razu przeciw dwom Biskupom.

Radzimy sprawę tę zlokalizować, jak się to w polityce mówi, na parafii sztumskiej — i tylko na niej."

Przegląd prasy słowiańskiej.

Bułgarska „Nowa Swoboda" pisze o położeniu obecnem w Bułgaryi i stosunku tejże do Rosyi:

„Dotychczas nie jest wiadomym cel i rezultat, jaki miała podróż Dragomira Cankowa do Petersburga. Dowiadujemy się, że tutejszy klub Cankowistów rozszerza wiadomości, iż car przyjął Cankowa bardzo przychylnie i zakomunikował mu pod jakimi warunkami może nastąpić pomiędzy nim a Bułgaryą porozumienie. Warunki te są następujące: mianowanie Rosya-

---

WARECKI.

Marto! nie narzucaj się temu panu. Dziecko moje znajdzie gościnę w domu przodków swoich.

MARTA.

Nie, nie, ojcze! On mnie nie opuści. Nie mówcie tak, bo szał mnie ogarnia.

WOLSKI.

Tak być musi. Tyś łańcuch twardy, co w ciało się wpija i o ziemię wali. Tyś żywe grzechu wspomnienie. Idź! mażę błąd życia. Bądź zdrowa!

MARTA (*tuli się namiętnie do niego*).

O przestań, nie opuszczaj!

WOLSKI.

Łzy twoje oschną, czas wspomnienia zgasi. Między nami wszystko skończone. Idź już... nie błagaj (*odsuwa ją*).

WARECKI (*chwyta Martę za rękę*).

Warecka żebrać nie umie. Im prędzej pójdzie pan Wolski, tem lepiej dla nas i dla narodu.

MARTA.

Co? Opuścisz? A dziecko? dziecko moje?

WOLSKI (*z bólem*).

Dziecko!... tak! to boli... (*z rezygnacyą*). A jednak inaczej być nie może... Niechaj w otchłań nie patrzy, która nas dzieli na zawsze, a jeśli kiedyś spyta się o ojca, powiedz mu, żem umarł (*spostrzega Melanję i ujmując ją gorąco za rękę, mówi półgłosem*). I nasza nić złota zerwać się musi. Czuwaj ty nad dziecięciem mojem i nie pogardzaj, nie potępiaj mnie!

MELANJA.

Cokolwiek czynisz, dobre być musi. (*Szeptem ledwie dosłyszalnym*). Kochałam cię więcej niż duszę i w chwilach bólu znajdziesz mnie zawsze przy sobie.

(*Za sceną słychać głośne okrzyki: Hurra! Niech żyje Warecki!*)

WOLSKI (*z przestrachem*).

A! (*biegnie do okna, krzyki wzmagają się, Wolski woła rozpaczliwie:*) Dość! Dość! Zdradziłem lud (*wybiega*).

MARTA.

Zygmuncie! (*wydziera się ojcu, biegnie ku drzwiom i pada zemdlona.*)

Głosy za sceną:

Górą Warecki!

(*Kurtyna spada*).

KONIEC.

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M W.**

(*Dokończenie.*)

I nie wiadomo dla czego widok tego zielska, srodze dręczonego przez wichurę, dreszczem przejął Brechunowa. Popędzał on teraz konia coraz natarczywiej, nie pomnąc, że aby zbliżyć się do burzanu, zmienił był pierwotny kierunek i wyobrażając, że wciąż posuwa się w stronę gdzie powinna była znajdować się leśniczówka. A ponieważ koń kierował się stale w prawo, on go nie przestawał zwracać w lewo.

I znowu coś zaszarzało przed koniem. Uradowany Brechunow nie wątpił, że teraz do wioski dojeżdża. Była to jednak ponownie miedza burzanem zarosła. I ten burzan miotany wichrem, wzbudził po raz drugi niewytłumaczony jakiś przestrach w Brechunowie. I nie tylko burzan był zupełnie taki, jak wpierw spotkany, ale tuż obok biegł nawpół zawiany wiatrem ślad. Brechunow stanął, pochylił się, przypatrzył i poznał, że to były ślady kopyt końskich i mogły pochodzić tylko od gniados-

nina ministrem wojny i dowódcą wszelkich sił zbrojnych, dymisya obecnego gabinetu i powołanie nowego z Cankowem na czele. Tymczasem rusofilskie „S a g l a s i e“, które utrzymuje stosunki z partyą rusofilską i jest jej głównem organem, o sprawie tej milczy, a nawet zaprzecza, jakoby car miał Cankowowi udzielić audyencyi.

„W tych dniach wyszła broszura dr. G. Kasabowa p. t. „Rosya i kwestya bułgarska“. Kasabow oświadcza, iż jest politykiem bez barwy któregokolwiek stronnictwa. Sądzi on, że Bułgarya na podstawie historycznych faktów powinna dążyć do porozumienia z Rosyą, ale Rosya nie ma znowu powodów do odmawiania ks. Coburgowi praw do tronu bułgarskiego. Księcia wybrało wielkie sobranie narodowe i został on uznany przez wszystkie państwa konstytucyjne; Rosya nie ma prawa rozporządzać Bułgaryą samowolnie. Rosya odłączyła się sama od Bułgaryi i zajęła wobec niej stanowisko nieprzyjacielskie...

„Z wewnętrznych kwestyi bułgarskich najważniejszą jest kwestya macedońska, bo ona decyduje o stosunku naszym do Turcyi. Rząd obecnie pilnie strzeże Macedończyków przebywających w Bułgaryi. Agitacya jaką emigranci macedońscy rozwinęli, zagraża przyjacielskim stosunkom Bułgaryi i Turcyi. Dotychczas rząd nie wystąpił przeciw istniejącemu w Środcu komitetowi macedońskiemu, ale jeżeli w agitacyi nie ustanie, rząd zostanie zmuszony do rozwiązania komitetu. Już obecnie stan rzeczy w Macedonii się pogorszył. Rząd turecki wzmacnia załogi i straże pograniczne, gdyż otwarcie się tam mówi o przygotowaniach do powstania. Deputacyi macedońskiej książe oświadczył, iż kwestyą macedońską się interesuje, ale polecał postępowanie dowolne, aby nie narażać się na niełaskę sułtana. Gdyby Macedończycy nie zmienili swego postępowania, wówczas książe i rząd cofnie poparcie materyalne i moralne, którego komitetowi udzielał...“

* * *

Główny organ partyi młodoruskiej „D i ł o“ umieszcza pismo patryoty rusińskiego ks. Taniaczkiewicza o stosunkach obecnych na Rusi halickiej:

„W obecnym czasie, w chwili takiego zubożenia ludu, niedoli, w dobie emigracyi patryoci prawdziwi, choćby byli przodownikami ruchu narodowego, powinni być zajęci pracą w kraju, pracą praktyczną i kraju ani jednej chwili nie opuszczać. Taka robota około oświecenia ludu jest stokroć ważniejsza, aniżeli bezużyteczne sprawy w sejmach i parlamentach, gdzie właśnie dla braku oświaty ludu reprezentujemy nic nie znaczące mniejszości. Agitatorzy narodowi mają przygotować materyał dla pracy parlamentarnej, a tego materyału dotychczas mamy za mało.

„W obozie naszym pozostało w ostatnim czasie tyle stronnictw, koteryi, tyle blagi, że istnieje uzasadniona obawa, iż sprawa nasza na nowe zostanie narażoną straty. Świętym obowiązkiem każdego patryoty jest występować przeciw tej demoralizacyi i zepsuciu...“

* * *

Organ partyi młodosłowińskiej, „S l o v e n s k i N a r o d“, pisze:

„Dla ocenienia nowożytnej walki narodowościowej i stosunków panujących w Austryi, gdzie Niemcy stanowią większość, jest przykładem klasycznym nasz mały naród słowiński. Jest nas Słowińców w Austryi około 1,200,000. Do nich nie zaliczamy już tych miejscowości słowińskich, które leżą we Włoszech, Chorwacyi i Węgrzech.

„Nie jest nas wielu. W Krainie jesteśmy w domu, tam posiadamy znaczne większości i gospodarzymy się po swojemu. W Karyntyi i Styryi jest trzecia część ludności słowińskiej, za to na Przymorzu, w Litoralii austryackiej, stanowimy większość. Nie mamy prawno-państwowej przeszłości politycznej i nie możemy się odwoływać na nią.

Walczymy z dwoma narodowościami, które nas przewyższają i liczbą i kulturą, Włochami i Niemcami, pod których naciskiem liczba nasza topnieje. W Wiedniu wspomina się o nas obok innych Słowian, Czechów i Polaków, a dziś stanowimy w koalicyi dość poważny czynnik. Ojciec koalicyi hr. Hohenwart reprezentuje okręg słowiński, a razem z nim zasiada w radzie państwa siedmiu naszych przedstawicieli, którzy mu pozostali wiernymi. Dla tego, że hr. Hohenwartowi dochowali wiary i nie wystąpili z klubu, jak Chorwaci mają u rządu pewne znaczenie.

Czy polityka naszych posłów, którzy nie poszli razem z Młodoczechami, jest słuszną, zobaczymy wkrótce. Rozstrzygnie o tem kwestya gimnazyum cylejskiego, gdyż kwestya ma dla nas znaczenie pierwszorzędne. Gdyby koalicya zawiodła Słowińców, wówczas nasi posłowie nie mogliby dłużej pozostać w związku dotychczasowym i przeszliby porówno z Chorwatami do opozycyi.“

D. K.



Edward Przewóski.

(Wspomnienie pozgonne).

Nie była niespodzianką śmierć Edwarda Przewóskiego. Od paru miesięcy wiedziano, że dotknięty jest suchotami, które przywiózł z sobą do Kijowa z zagranicy, i że najtroskliwsza pomoc jedynie może przewlec powolne konanie. A jednak wiadomość, że tym posępnym przewidywaniom stało się zadość, wywarła na mnie bardzo przykre wrażenie.

Temperament to był na wskroś dziennikarski, który w rozgardyaszu czuł się jak w swoim żywiole. Poraz pierwszy poznałem E. Przewóskiego przed laty blisko piętnastu we Lwowie. Pracował on wtedy w jednem z tamtejszych pism codziennych. Udałem się do redakcyi; dopytywał się o znajomych w Warszawie i jednocześnie, półobrócony do mnie, pisał swój wstępny artykuł. Pono tak zawsze pracował. Samotności nie znosił, przynajmniej przy pracy. Tworzył tylko śród gwaru. W Paryżu uciekał z mieszkania do płatnych czytelni, tam wybierał stolik pod oknem, ażeby mieć przed sobą przepływający potok ludzki i przerzucał dzienniki. Powoli czuł, że pod wpływem otoczenia w umyśle coś zaczyna kiełkować, aż wreszcie chwytał pewien temat i rękopis niebawem znajdował się już w skrzynce pocztowej. Jak każdy urodzony publicysta posiadał on niezmierny talent zamiany najbardziej oderwanej idei na tętniącą życiem teraźniejszości. Pamiętam czasy studyów swoich w Paryżu 1885 r. W kółku przyjacielskiem toczyły się rozprawy o rzeczach, zdawałoby się, zupełnie nie związanych z życiem. Były to abstrakcye ekonomiczne i filozoficzne, często zaś zagadnienia, zrodzone tylko z potrzeby młodocianych umysłów dysputowania o czemś, chociażby o tem, o czem dysputować nie było warto. Przewóski w lot chwytał pierwszy lepszy parodoks, a w parę tygodni oglądaliśmy go zamieniony na cały artykuł w którémś z pism. Rzeczy najjałowsze, względnie najabstrakcyjniejsze, przekształcały się pod jego piórem w coś oddychającego życiem. Doktrynerstwo tam znikało, a występowało coś odmiennego, w czem ktoś nawet, uwiedziony pozorami, mógł dostrzedz brak stałych zasad. Zarobkując piórem i zmuszony pisać do wielu pism, wogóle ściągał on na

---

kołował więc widocznie i to na szczupłej przestrzeni nie posuwając się naprzód.

— Zginąć mi tutaj chyba przyjdzie — pomyślał Brechunow, i dla stłumienia ogarniającej go trwogi tem zajadlej poganiał konia, wpatrując się z wytężeniem w białą, śnieżną mgłę, w której nic nie można było dojrzeć prócz błyszczących punkcików, które pojawiając się od czasu do czasu szybko niknęły. Po dłuższej chwili takiej jazdy wydało mu się, że słyszy ujadanie psów lub też wycie wilków, ale dźwięk ten był tak słaby i nieokreślony, że nie było nawet pewności, czy rozlega się w rzeczywistości, czy też tylko w jego wyobraźni, zatrzymawszy więc konia zaczął wsłuchiwać się z całem naprężeniem uwagi.

W tem jakiś straszny, ogłuszający krzyk obił się o jego uszy, a jednocześnie to, na czem siedział, drgać i trząść się pod nim zaczęło. Brechunow uchwycił konia za szyję, ale i szyja końska silnie się trzęsła, a przerażający krzyk stał się jeszcze straszniejszym. Przez kilka sekund Brechunow nie mógł oprzytomnieć, nie mógł zrozumieć, co się stało. A stało się tylko tyle, że gniadosz, czy to chcąc dodać sobie otuchy, czy też wezwać ludzkiej pomocy, zarżał swoim dźwięcznym donośnym głosem.

— Tfu do licha! toż dopiero nastraszył mnie przeklęty! — zaklął Brechunow.

Ale i teraz, jakkolwiek zrozumiał przyczynę swego przerażenia, nie był atoli w stanie z niego się otrząsnąć.

Trzeba się namyśleć, uspokoić — powtarzał w duchu, a jednocześnie wciąż przynaglał konia, nie umiejąc zapanować nad sobą i nie zwracając uwagi, że teraz wiatr mu dął w plecy, a nie w twarz.

Brechunow nie myślał już teraz ani o lesie, ani o leśniczówce, jedynem jego pragnieniem było wrócić do miejsca, gdzie zostały sanie, aby nie zginąć samotnie, jak owe zielsko, wśród tej przerażającej pustyni śnieżnej.

Nagle koń zapadł się pod nim, ugrzązł w zaspie i zaczął się tam szarpać, padając na bok. Brechunow zeskoczył w śnieg, ściągając w jedną stronę uprząż i derkę, a uwolniony z pod jego ciężaru, koń podniósł się, szarpnął naprzód, podskoczył raz, drugi, zarżał i wlokąc za sobą derkę i cugle, zniknął z oczu, pozostawiając jeźdźca samego w zaspie. Brechunow rzucił się w ślad za nim, ale śnieg był tak głęboki, a dwa futra, które miał na sobie, tak ciężkie, że grzęznąc po kolana, zrobił zaledwie dwadzieścia kroków i stanął bez tchu, jak wryty.

— Las, skopy, dzierżawa, sklep, szynki — przemknęło mu przez głowę — i wszystko to miałoby zostać? Co to się dzieje ze mną?... Nie, toby było niepodobieństwem!

I nie wiadomo dla czego przyszedł mu na myśl ów burzan, miotany wichrem, koło którego przejeżdżał dwukrotnie, a zarazem ogarnęło go tak silne przerażenie, że nie mógł uwierzyć w rzeczywistość tego, co się z nim działo.

— Czy to nie sen? — myślał, usiłując się przebudzić, ale budzić się nie potrzebował, bo rzeczywistością był ów śnieg, który smagał mu twarz i zasypywał go, rzeczywistością była i ta istna pustynia, w której znajdował się teraz sam, zupełnie sam — jak ów burzan — i gdzie go oczekiwała nieunikniona, szybka, nie dająca się pojąć śmierć.

— Krolowo niebieska, święty Mikołaju cudotwórco, ludzi miłośniku — przypomniały mu się wyrazy z wczorajszego nabożeństwa i obraz z ciemnem licem w złotej szacie, i świece woskowe, które sprzedawał do tegoż obrazu i które mu potem zwracano zaledwie nadpalone, a on je chował do pudła. I zaczął się modlić, błagając Mikołaja cudotwórcę, aby go ocalił i obiecując mu w zamian zakupienie uroczystego nabożeństwa i świece. Ale zrozumiał natychmiast jasno, bez cienia wątpliwości, że ta ciemna twarz świętego, złocista jego szata, świece, kapłani, nabożeństwa, były to rzeczy ważne i potrzebne tam, w cerkwi, że tutaj nie mają one żadnego zgoła znaczenia i że między temi świecami, nabożeństwami, a nieszczęsnem jego położeniem nie ma i nie może być żadnego związku.

— Nie trzeba tracić odwagi. Trzeba iść śladem konia, bo i ten wkrótce śnieg zawieje — przypomniał sobie i rzucił się naprzód. I chociaż miał zamiar iść wolnym krokiem, biegł teraz, padając, podnosząc się i znowu

siebie zarzut, że zanadto dopasowywa się — w pewnych granicach, bo w zasadniczych poglądach nigdy nie spostrzegłem, ażeby się sobie sprzeniewierzył. To dopasowywanie odbywało się jakoś żywiołowo, Przewóskiego porywał temperament i niósł na przekór woli. Opowiadał niegdyś, iż pisząc o czemś, tak przejmuje się swoją rolą, iż staje się jakby adwokatem rozbieranej doktryny. Usposobienie jego nieraz mu płatało takie figle. Żyjąc wrażeniami i zmuszony przekuwać je natychmiast na środki utrzymania, nie mógł ześrodkować myśli swoich na czemkolwiek. Musiał pisać o wszystkiem: o polityce bieżącej i o teoryach naukowych, o prądach w literaturze i o rzeczach ekonomicznych — o jednem z rana, o drugiem po południu. Przychodziło mu to z łatwością dzięki szczęśliwemu charakterowi, ale swoją drogą oddziaływało niekorzystnie. Przewóski, zamiast skorzystania od razu z posiadanego kapitału umysłowego, zamieniał go na groszaki i trwonił w drobnej monecie. Werwa jego i dowcip rozpraszały się w artykulikach, niekiedy nawet nie podpisywanych. Od lat wielu nie było w kraju ani jednego pisma postępowego, w któremby nie pracował. Wartość tych prac jest bardzo różną, jak zwykle bywa w publicystyce, obliczonej na zarobek. Ale są tam też rzeczy cenniejsze, które nie powinny utonąć w zapomnieniu.

K. R. Żywicki.

Nowele Sewera.

Zdarza się często, że z serdecznem uczuciem wyciągamy po raz pierwszy dłoń swoją do kogoś, w kim przeczuwamy przyszłego przyjaciela, a przynajmniej dobrego towarzysza. Z podobnem uczuciem witałem świeżo wyszłe dwa tomy nowel Sewera, pewny, że przerzucając okiem ich karty odbędę miłą, orzeźwiającą umysł i serce wędrówkę. Sewer bowiem ma to do siebie, że się z góry wierzy, iż wszystko, co wychodzi z pod jego pióra, musi być napisane z talentem i smakiem artystycznym. Panegiryzmem trąciłoby zdanie, iż w całej różnostronnej twórczości literackiej Sewera nie ma rzeczy słabszych, że każdy typ przez niego stworzony jest doskonałym, że nie ma całkiem rysów lub błędów w konstrukcyi niektórych z jego utworów. Nawet w wybornej jego trzytomowej „Nafcie“ znalazłem pewne usterki, których nie omieszkałem wytknąć w napisanej przezemnie recenzyi. Ale rzeczy bezwzględnie doskonałych nie ma pewno na świecie; nawet największe arcydzieła tak literatury jak sztuki nie są wolne od błędów. Tylko o błędach tych łatwo się zapomina, ogarniając całość wzrokiem, słuchem, lub umysłem; w sumie estetycznych wrażeń giną drobne dysonanse...

Każdy z dwóch tomów nowel Sewera zawiera po trzy utwory, połączone ze sobą wspólnością tła i kolorytu. W pierwszym tomie, noszącym ogólny napis: „Nowele“, słyszymy szczęk broni, odczuwamy wielkie bóle i wielkie, choć znikome radości; tom drugi, zatytułowany „Zalotnica“ przenosi nas „do tych pól malowanych kwieciem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem, wśród których biją czyste źródła i czyste serca.

Pierwszą nowelą pierwszego tomu jest „Pamiętnik Maniusi“. Oderwano Maniusię od lalki, od stajni i kurnika, od stojącego przy drodze św. Floryana z czarnemi wąsami i oddano na pensyą klasztorną do Krakowa. Nowela więc opisuje życie wychowanek klasztornych, ich „trudy naukowe“, zabawy, kłopoty, spiski, „zatargi z władzą“, klęski i zwycięstwa. Na tem tle rysują się charakterystyczne typy katechety, panny-prefekty i nauczycielek-zakonnic. Obraz tego zamkniętego światka już sam przez się byłby bardzo ciekawy, ale Sewer wprowadził jeszcze do niego tło szersze, patryotyczne. Maniusia weszła na pensyą klasztorną w chwili, kiedy uczucia całego narodu były podniesione, kiedy każda wiadomość z rwącej się do wolności Warszawy przejmowała drżeniem, obawą, lub radością serca czuć umiejące. Już w przeddzień wejścia na pensyą słyszała, jak ojciec z zapałem zapowiadał Polskę od morza do morza, dostrzegła, jak za wejściem radzcy Knolla reprezentanta rządu na Podgórzu, zamilkli na znak dany wszyscy prorokujący wojnę europejską. Zaraz pierwszego dnia lekcyi miała zajście z nauczycielką Niemką, zdziwioną, iż Maniusia, pomimo nazwiska niemieckiego, nie umie po niemiecku; zdziwienie zamieniło się w oburzenie, kiedy mała bohaterka oświadczyła, że nigdy Niemką nie będzie i śmiała „język państwowy“ nazwać szkaradnym. Zajście to, załagodzone przez zacnego księdza Tekstorysa, który kazał „kochać Polskę, a Niemki nie drażnić“, rozbudziło pomiędzy wszystkiemi wychowankami klasztoru słabo dotychczas tlejące w ich sercach poczucie narodowości. Niedługo buchnęło ono płomieniem, bo nadszedł rok 1863. Następuje cały szereg prześlicznych obrazków. „Przychodnie“ przyniosły ze sobą „Boże coś Polskę“ i z „Dymem Pożarów;“ siostra Augustyna stała na straży, kiedy młode wychowanki przepisywały te hymny przez cały wieczór. Nazajutrz, będąc w oratoryum, usłyszały w kościele „Boże coś Polskę“ przyłączyły się do chóru z odwagą, która zbudziła w nich myśl, że się dobrze zasługują ojczyźnie. Nastąpiła indagacya, poszukiwania winowajczyni, bo szkoła była uznaną przez rząd i zostawała też pod jego nadzorem. Nie będę dalej opowiadał treści, bo rzecz to niewdzięczna streszczać sucho to, co drga życiem. Na zakończenie noweli zjawia się ten sam, co na początku radzca Knoll, Niemiec, ale blady, chwiejący się, z twarzą bolesną: syn jego poszedł do powstania i zginął. „Złożyłem na ołtarzu Polski krew mojej krwi — mówił cicho radzca — może teraz pan Aleksander nie powie: cicho, bo Niemiec idzie!“

Całe to opowiadanie, o ile mi wiadomo, jest wzięte prosto z życia — wszystkie postacie są w niem rzeczywiste, nawet opowiadająca Maniusia. Nadzwyczaj wdzięczny to obrazek z niedawno minionej przeszłości. Gwarno w nim, poczciwie, wesoło, serdecznie, choć kończy się łzawo. Do akcyi prostej, niewyszukanej, oprócz tłumu dzieweczek, ich braci i kuzynów, wchodzi kilkanaście osób zaledwo naszkicowanych, ale tak świetnie i wyraźnie, że każdą z nich prawie na wylot poznajemy. Sewer rzuca na papier kilka rysów charakterystycznych, kilkoma pociągami pióra zaznacza kontury postaci, i typ już gotowy. A z wyjątkiem „fasy“ niemczury i „kusego inspektora“ Machera, wszystkie te postacie są wysoce sympatyczne, tak, że nie wiadomo, którą postawić na pierwszem miejscu: czy siostrę Barbarę, co to jeszcze tańczyła z księciem Józefem, czy siostrę Bogumiłę, co siedziała niegdyś w więzieniu za ojczyznę, czy siostrę Augustynę, spiskującą z młodziutkiemi patryotkami, czy owego Knolla, księdza Tekstorysa, czy wreszcie ojca narratorki, wierzącego w Napoleona i zapowiadającego uroczyście, że „będzie Polska!“ Podkład patryotyczny wprowadzony bez żadnej przesady, czułostkowości, z prawdziwą miarą artystyczną, wywiera silne wrażenie na czytelniku.

I w drugim z kolei utworze „Na pobojowisku“ fakta rzeczywiste stanowią osnowę opowiadania. Treścią noweli jest udział Hauke-Bosaka w wojnie niemiecko-francuskiej, zakończony jego śmiercią, a raczej prawie zabójstwem w zasadzce przez żołnierzy Falkenhagena. Sewer dążył właśnie do Bosaka, kiedy w drodze doszła go wieść o jego śmierci. Oddał mu ostatnią posługę, a od towarzyszów jego dowiedział się szczegółów o przebiegu walk

---

padając. Tam, gdzie śnieg był nie głęboki, ślad konia zaledwie już można było dojrzeć.

— Zginąłem! — jęknął Brechunow — stracę i ten ślad...

Ale w tejże chwili rzuciwszy okiem przed siebie, dojrzał coś czarnego. Był to gniadosz i nie sam tylko gniadosz, leca i sanie i hołoble. Gniadosz z sunięta na jeden bok uprzężą i derką, stał nie na dawnem miejscu, lecz bliżej hołobli i mając przednią nogę zaplątaną w cugle, rzucał głową, której nie mógł podnieść. Wyszło teraz na jaw, że Brechunow ugrzązł w kotlinie, tam, gdzie zapadał z Nikitą, a gniadosz wskazywał mu drogę z powrotem ku saniom i że on zeskoczył z konia nie dalej, jak na odległości jakich 50 kroków od miejsca, gdzie pozostały sanie.

IX.

Dotarłszy do sani, Brechunow uchwycił się ich poręczy i stał tak przez długą chwilę nieruchomy, aby się uspokoić i odetchnąć. Nikity nie było na dawnem miejscu, ale w głębi sani leżało coś, całkiem już zawianego śniegiem, i Brechunow domyślał się, że to być musi Nikita. Sam on nie czuł teraz żadnej zgoła trwogi i jeżeli obawiał się czego, to chyba strasznego uczucia przerażenia, jakiego doświadczył, jadąc konno, a zwłaszcza wówczas, gdy został sam jeden w zaspie. Chodziło teraz o to przedewszystkiem, aby za jakąbądź cenę nie dopuścić do siebie tego uczucia, aby zaś stawić mu skuteczny opór, należało myśleć nie o sobie, tylko o czembądź innem, należało coś przedsięwziąść. Dla tego też pierwszą jego czynnością było to, że zwróciwszy się plecami do wiatru, rozwiązał pas, który podtrzymywał futro, a wypocząwszy nieco, jął wytrząsać śnieg z butów i rękawic, poczem owinął się znowu mocno i nizko pasem, przygotowując się do działania, jak to zwykł był czynić, gdy wychodził ze sklepu skupować przywiezione przez chłopów zboże.

Pierwszą sprawą do załatwienia było wyprostowanie nogi koniowi. Brechunow to uczynił i rozplątawszy cugle, przywiązał gniadosza do żelaznego haku z przodu sani na dawnem miejscu, poczem zaszedł z tyłu konia, aby poprawić uprząż i derkę. Ale w tej właśnie chwili spostrzegł, że w saniach coś się poruszyło z pod śniegu, którym była przykryta, wynurzyła się głowa Nikity. Z niezmiernym widocznie wysiłkiem chłop się podniósł, usiadł i machając ręką przed twarzą, dziwnym jakimś, niby muchy opędzającym ruchem, mówił coś zwolna, a jak się Brechunowi wydało, przywoływał go ku sobie. Pozostawiając więc poprawienie derki na później, zbliżył się ku saniom.

— Co ci jest? — zapytał. — Czego chcesz?

— U-mie-ram — oto co mi jest — odparł z wysiłkiem, rwącym się głosem Nikita. — Należną mi pensyę chłopakowi memu oddaj, albo kobiecie — wszystko jedno.

— A cóż to, zmarzłeś tak bardzo, czy co?

— Śmierć przychodzi — czuję to. Przebacz, jeżelim w czem zawinił, przez rany Chrystusa Pana — mówił Nikita łkającym głosem, nie przestając poruszać rękami w taki sposób, jak gdyby muchy opędzał z twarzy.

Brechunow stał chwilę milczący, osłupiały, aż nagle ze stanowczością, z jaką uderzał dłonią w dłoń klienta przy dobijaniu korzystnego kupna, cofnął się o krok wstecz, zawinął rękawy futra i zaczął odgartywać śnieg z ubrania Nikity, a potem wyrzucać go z sanek. Skończywszy ze śniegiem, rozwiązał pas, roztworzył poły ubrania, potrącił Nikitę, który upadł na wznak i sam położył się na nim, okrywając go nietylko futrem, lecz i własnem ciepłem, rozgrzanem ciałem.

Zatykając poły futra między ścianki sani a Nikitą, dół zaś jego przytrzymując kolanami, Brechunow leżał teraz plackiem, wspierając głowę o przód sani i nie słyszał już ani poruszeń konia, ani poświstów burzy, bo przysłuchiwał się jedynie oddechowi Nikity. Chłop leżał początkowo nieruchomy, potem westchnął głęboko i poruszył, rozgrzewając widocznie.

— A widzisz, co? A tyś dopiero o śmierci mówił. Leż spokojnie i rozgrzewaj się. Ja nie tak, jak inni — zaczął ze zwykłą chełpliwością Brechunow.

Ale ku wielkiemu swemu zdumieniu nie mógł dokończyć, bo oczy jego napełniły się łzami, a dolna szczęka szybko drgać zaczęła.

i utarczek pod Dijon. Postać Bosaka, tego szlachetnego wodza-żołnierza, ostatniego prawie, co zeszedł z pola walki w powstaniu 1863 r., a potem odbiegł żonę i dzieci, aby nieść Francyi pomoc przeciw tym, których za wrogów własnej ojczyzny uważał, za mało dotychczas jest znaną, a niewątpliwie Bosak zasługuje, aby grób jego nad brzegami Lemanu zarzucony był zawsze świeżem kwieciem, ręką rodaków znoszonem. Dobrą więc stroną noweli Sewera już jest to samo, że przypomina nam piękną postać Bosaka. Obrócz niego występuje jeszcze w noweli kilka figur pełnych życia: wszystko to polskie rozbitki, oddające swą krew za ideę wolności, której uosobieniem przez długie lata wydawała nam się Francya. Najlepiej z tych figur odznaczają się: pułkownik wśród gradu kól powtarzający: „śmieszna rzecz“ i dzielny wachmistrz Otręba. Obrazy z życia żołnierskiego i z partyzanckiej walki są pełne plastyki. Zdania urywane, krótkie, jędrne, nadają opowiadaniu pewną energią i wyrazistość: styl ten możnaby nazwać żołnierskim, batalijnym. Ale są też i wady. Naprzód rzecz cała jest za rozwlekła, zbyt nuży czytelnika. Możnaby darować epizod z romansową merową, oraz dysputy treści filozoficzno-religijnej, prowadzone pomiędzy porucznikiem a kapitanem. Za to wyborną jest charakterystyka mieszczaństwa francuskiego: przyduszone przez cezaryzm, nasiąknęło egoizmem za króla mieszczańskiego, a zdemoralizowawszy się za drugiego cesarstwa, kram i zysk uznało za swego Boga. Obok sztucznego patryotyzmu tej sfery, myślącej tylko o zakończeniu w jakikolwiekbądź sposób walki, dobrze zaznaczony jest tłum francuzki, który skutkiem żywości charakteru łatwo wpada w ostateczności: z bezgranicznego przestrachu do brawury bez hamulca i opamiętania. Prócz tego sporo rozrzucił Sewer w tej noweli uwag głębszych, które zupewne nie wszystkie znajdą zwolenników, ale są dowodem umysłowej jego pracy nad wielu zagadnieniami. W każdym razie, jak powiedziałem, nowela jest za długa, przeładowana romantyzmem, sentymentalizmem, i zyskałaby też wiele na amputacyi. Ale czytamy pod nią datę jej napisania: rok 1876 — i to tłomaczy główną wadę utworu. Sewer rozpoczynał wówczas dopiero swój zawód literacki, borykał się jeszcze z techniką kompozycyjną.

Pomiędzy napisaniem noweli „Na pobojowisku“ a następującej po niej „Maciek w powstaniu“, upłynęło lat blisko dwadzieścia, ztąd „Maciek“ jest już utworem pisarza wyrobionego, mającego zaszczytne stanowisko w literaturze, znającego już wszelkie tajniki formy i kompozycyi. Opowieść to prosta, a wzruszająca. Na odgłos wybuchu powstania włościanie z Mirca w Sandomierskiem zrozumieli swój obowiązek i wstąpili w szeregi powstańcze. Więc i Maciek, choć miał młodą „babę“ wyostrzył kosę i dalej na Moskala! Z niezrównaną plastyką opowiada Sewer przygody swego bohatera, na tle prawdziwych epizodów z walki w Sandomierskiem. Kulminacyjnemi punktami jest utarczka na szosie między Szydłowem i Kielcami, i bitwa pod Wąchockiem; Maciek okazał się nietylko dzielnym kosynierem, ale i wybornym taktykiem, gdyż pomysłem swoim uratował cały oddział (autentyczne). Postać Maćka nie jest bynajmniej zaczerpniętą z fantazyi, Sewer ją tylko artystycznie opracował, a znając dokładnie warunki wojny partyzanckiej, dał nam jej obraz żywy i prawdziwy. Wesoło w nim, zwycięsko, a przecież serce się ściska i nie potrzeba być tkliwą kobietą, aby poczuć łzę w oku. A kto umie ją wycisnąć prostemi środkami, to znać, że jest wirtuozem na strunach uczuć ludzkich..

„Maciek w powstaniu“ stanowi doskonałe przejście do drugiego tomu nowel Sewera. Tłem patryotycznem łączy się on z tomem pierwszym, postacią zaś swego bohatera należy do cyklu noweli i powieści ludowych, które tak niepoślednie miejsce zajmują w twórczości literackiej naszego powieściopisarza.

Nie ujmując często wysokiej wartości utworom tego rodzaju innych autorów, zapisuję tylko własne wrażenie, iż nigdzie typy ludowe nie wydają mi się tak naturalne, tak piękne i poetyczne w prostocie swojej, jak u Sewera. W jego obrazach i słońce świeci jakoś jaśniej, i fale zbóż szemrzą nutą pogodniejszą, zioła i trawy więcej pachną, pieśń ptasząt i żniwiarzy zlewa się w chór harmonijny a serdeczny, a nawet ujemne strony życia obyczajów i charakterów ludowych owiane są pewną poezyą, broniącą przystępu pessymizmowi. A przecież Sewer jest realistą, obserwatorem, skrzętnie zbierającym szczegóły, przecież żaden prawie jego utwór nie jest wynikiem czystej fantazyi, owszem, każdy powstał na tle rzeczywistości. Spytajcie się go, a poda wam rodowód każdego prawie swego obrazka, każdej swojej postaci. Sam on zaznacza, że „nie jest ideologiem i nie lubi pisać ideologicznych bredni — zostawia je młodym poetkom, lub wiekowym powieściopisarkom. Tylko dodaje: „należy umieć kochać to co jest i szukać poezyi w tem jak jest, a nie kłamać i dla tego, że nie umiemy pisać prawdy, oszukiwać ludzi i siebie“. (Łusia Burlak).

Wyznanie to Sewera tłomaczy najdokładniej ów wdzięk niezwykły jego powieści ludowych. Kocha to, co jest, a ta miłość chroni go przed zgorzknieniem, szuka poezyi w tem, jak jest, a to poszukiwanie, w którem miłość dla ludu służy za przewodnika, przynosi mu w nagrodę trudów nie świecidełka, ale pełno prawdziwych choć drobnych często klejnotów, koło których niejeden przechodzi, nie domyślając się nawet, że ma je pod swojemi stopami. Są one zarosłe zielskiem, które trzeba odsunąć, pokryte rdzą, którą trzeba zetrzeć umiejętnie. Sewer to umie i w tem leży tajemnica jego zdolności jako obserwatora poszukiwana. Ale znaleść to mało — potrzeba to, co znalezione, zebrać, uporządkować, z pojedyńczych drogich kamieni ułożyć deseń poprawny, powiązać je i umocować trwałą oprawą artystyczną. Pozwala mu tego dokonać niepospolity talent literacki. *K. Bartoszewicz.*

(Dokończenie nastąpi).

Nowa powieść Sudermanna.

„Einst warst du der Mann
Heute ist Sudermann“.

Taki epigram został przed kilku laty umieszczony przez jakiegoś dowcipnisia na znajdującym się w Thiergartenie pomniku Goethego. Samo zestawienie Sudermanna, wówczas jeszcze nowicyusza literackiego, z nieśmiertelnym twórcą „Fausta“ daje poniekąd pojęcie o popularności, jaką cieszył się niegdyś wśród publiczności autor „Kumy troski“. Lecz te piękne dni Aranjuezu zdaje się dla Sudermanna już minęły... Gwiazda powodzenia i sławy, która w pełnym blasku przyświecała Sudermannowi, gaśnie z każdym dniem więcej i jeżeli autor ten nie potrafi ze swej krynicy natchnień i talentu wydobyć utworów, które zrehabilitowałyby go w oczach publiczności, a zwłaszcza rozczarowanej krytyki, to grozi mu zajęcie drugorzędnego miejsca w poczcie współczesnych literatów niemieckich. Po „Walce motyli“ i najnowszej powieści „Es war“ krytyka nie może mu w żaden sposób wybaczyć, iż coraz mniej ziszcza pokładane w nim jakieś nadzieje. Publiczność niemiecką zainteresowała właściwie aktualność poruszanych w jego utworach tematów. Cokolwiek da się powiedzieć przeciwko Sudermannowi, trudno mu odmówić talentu chwytania „le boeuf par le corne“, jak mówią Francuzi. Tematy jego są to kwestye, nad któremi łamał sobie głowę każdy, kto zastanawiał się nad sprzecznościami życia. Potrafił on szczerze i w sposób umiejętny wypowiedzieć to, co nieraz uderzało nas w życiu, a nawet wstrząsało całem naszem jestestwem. Lecz

---

Umilkł więc, siłąc się połknąć coś, co go w gardle dławiło.

— Przeraziłem się widocznie i dla tego tak bardzo osłabłem — tłumaczył się sam przed sobą. Osłabienie to jednak nietylko nie sprawiało mu przykrości, lecz przeciwnie napawało go szczególniejszą, nigdy dotąd nie doświadczoną rozkoszą.

— Ja — to ja, nie to co inni — powtarzał w duchu z rzewnym jakimś tryumfem.

I długo leżał tak milczący, ocierając oczy o włosie futra i zasuwając pod kolana prawą połę, którą wiatr wciąż odwiewał. Aż nagle ogarnęła go nieprzeparta chęć podzielenia się z kimkolwiek radością, która wypełniała całe jego jestestwo.

— Nikita? — zagadnął.

— Dobrze mi, ciepło! — odpowiedział głos z dołu.

— A widzisz, bracie! I ja o włos nie zginąłem. I ty byłbyś zmarzł i jabym...

Ale znowu zadrgały mu szczęki, wypełniły się łzami oczy i słowa zamarły na ustach.

— To i cóż będę milczał — pomyślał. — Ale sam wiem, co wiem.

Niejednokrotnie rzucał okiem w stronę konia i widział, że grzbiet ma odkryty, bo uprząż i derka włóczyły się w śniegu i że należałoby go okryć, ale nie miał siły opuścić choćby na chwilę Nikitę i zmącić radosne uczucie, jakiego doświadczał. Obawy nie doznawał teraz najmniejszej.

Nikita grzał go ze spodu, futro z wierzchu, a tylko ręce, któremi przytrzymywał poły po obu bokach Nikity i nogi, z których wiatr zrzucał wciąż futro, zaczynały cokolwiek ziębnąć. Ale on o tem nie myślał, troszcząc się jedynie, aby rozgrzać jak najlepiej leżącego pod nim człowieka.

— O, nie wymkniesz mi się, nie wymkniesz! — mówił sam do siebie, mając na myśli, że nie da mu zmarznąć, a powtarzał to z takąż chełpliwością, z jaką opowiadał dawniej o korzystnych dla siebie operacyach handlowych.

I dość długo leżał nieruchomie. Początkowo przesuwały się w jego wyobraźni wrażenia zamieci, hołobli i konia pod derką, to jest tego, co miał przed oczami, a w pamięci tkwił Nikita: potem przyłączyły się wspomnienia o odpuście, żonie, stanowym, pace ze świecami i znowu o Nikicie, który niby znajdował się pod ową paką; dalej zarysowali się mu przed oczami chłopi, od których on kupował i którzy u niego kupowali, białe ściany domów, krytych żelazną blachą, pod którymi znowu ma się niby znajdować Nikita, a potem wszystko się to zmięszało, jedno wrażenie wsunęło w drugie i podobnie jak barwy tęczy łączą się w jeden kolor biały, tak one wszystkie zlały się w jedno wielkie nic i Brechunow zasnął.

Spał długo bez marzeń, na świtaniu dopiero zaczął znowu śnić. Wyobraziło mu się, że stoi u paki ze świecami, a jedna z wieśniaczek chce kupić dziesięciogroszową świecę na ołtarz, on zamierza dać jej żądaną świecę, ale nie może wyciągnąć rąk, które uwięzły w kieszeniach. Chce zajść z drugiej strony paki, ale nogi nie suwają się, a nowe, starannie oczyszczone kalosze jakby wrosły w kamienną posadzkę cerkiewną, ani ich podnieść nie może, ani nóg z nich wyciągnąć. W tem paka ze świecami przestaje być paką, a staje się łóżkiem, i Brechunow widzi siebie, leżącego plackiem na tej pace, to jest na swojem łóżku, we własnym swym domu. Z tego łóżka nie jest w stanie dźwignąć się, a jednak wstać potrzebuje koniecznie, bo oto wstąpi do niego lada chwila stanowy, z którym ma iść las targować, czy też poprawić uprząż na gniadoszu.

Zwraca się nawet z odpowiedniem pytaniem do żony: — No i cóż, nie wstępował tu po mnie? — Nie, odpowiada żona — nie wstępował. — Nagle słyszy, że ktoś zajeżdża pod ganek. — To on zapewne. — Ale nie, ten ktoś pojechał dalej. — Żono, żono, jakto, dotąd go nie ma? — Nie ma. Spoczywa więc dalej na łóżku i wciąż wygląda gościa, a w tem oczekiwaniu tkwi i boleść i radość zarazem. I nagle radość zapanowuje niepodzielnie, bo zjawia się oczekiwany. Jest to wprawdzie ktoś inny, nie stanowy, ale to ten właśnie, kogo wyglądał. Przyszedł teraz i wzywa go ku sobie, a jest tym samym, co nań wpierw już zawołał i kazał mu położyć się na Nikicie. I Brechunow cieszy się, że ten ktoś wstąpił tutaj, aby go zabrać.

już w zaraniu jego tryumfów, wśród chóru krytyk, wynoszących nową gwiazdę, odzywały się nieśmiałe głosy, utrzymujące, iż autor ten jest meteorem, który wkrótce zgaśnie. Podkreślano wtedy już brak konsekwencyi w jego fabułach. Problematy postawione na ostrzu noża rozwiązywał w sposób przeczący całej poprzedniej akcyi. Same osoby wskutek tego traciły na jednolitości i zostały pozbawione krwi i mięsa. Rzucała się w oczy nieumiejętność wytrwania w tonie do końca, autor, który miał zapanować nad tematem, padał pod jego brzemieniem, tak iż zamiast rozstrzygać, rozcinał. Lecz wszystkie te usterki inteligentna część publiczności wybaczała mu z całego serca, ze względu na zapał, który tryskał z niejednej stronnicy lub sceny. Badając puls chwili bieżącej, chwytając w lot dręczące ją pytania, umiał zarazem wybierać tematy w sposób świadczący o nim jako o człowieku protestu; autor przystępował do życia nie w roli obserwatora i fotografa, lecz jako jeden z niezadowolonych, który chłostał je niemiłosiernie biczem satyry. Wprawdzie nigdzie prawie nie napomknął, jak złagodzić lub usunąć zło; nie potrafił wniknąć głębiej w przyczyny jego istnienia, gdyż nie umiał się wznieść na wyżyny, zkąd można objąć wzrokiem szersze widnokręgi. Lecz niestety i pierwiastek protestu zatraca się u Sudermanna coraz więcej; inne nuty zaczynają przeważać, „der deklassierte bourgeois“, jak go ochrzcił kiedyś jeden z krytyków, przedzierżgnął się w zwyczajnego bourgeois. Nie jest to Sudermann biedny farmaceuta lub literat, utrzymujący się z artykułów zamieszczanych w prowincyonalnych pismach i sprowadzający na pierwsze przedstawienie „Honoru“ swą matkę chłopkę; jest to znakomity pisarz, pędzący żywot pełen wygód w Wenecyi. Już po „Walce motyli“ krytyka konstatowała upadek talentu. Jeszcze większe atoli rozczarowanie ogarnia czytelnika, gdy bierze do rąk jego ostatnią powieść „Es war“. Jeżeli w poprzednich utworach wytykano sprzeczności, to ostatnia powieść roi się od znaków zapytania. Charaktery są mgliste i połowiczne, a całe wykonanie robi wrażenie, jak gdyby dobre chęci szły w najlepsze z opadającemi wciąż siłami autora. Tam, gdzie mu talent niedopisuje, posługuje się efektami. Piękny styl przechodzi w zmanierowanie. Obraz cechuje brak proporcyi; okoliczności i osoby drugorzędne zasłaniają przed okiem czytelnika rzeczy pierwszorzędnej wagi. Jednem słowem, daje się odczuwać brak mistrzostwa formy. Mimowoli ciśnie się do głowy pytanie: czy to jest utwór autora tak uroczej „Kumy troski?“

Wschodniopruski junkier Leon v. Sellenthin, zawiązuje stosunek z panią Felicitas v. Rhaden, żoną swego znajomego. Miłość wychodzi na jaw i staje się przyczyną przelewu błękitnej krwi, co w dalszym ciągu zniewala zwycięzcę Leona do ucieczki do Ameryki. Gdy zaś po kilku latach wraca, przekonywa się, iż jego ukochana poszła śladem tych niepocieszonych niewiast, które po niefortunnej miłości, z rozpaczy — jak się to nazywa — wstępują w legalny związek. Pocieszycielem był w danym wypadku przyjaciel Leona, Ulryk v. Kletzingk. Wprawdzie Ulryk zapytał się kiedyś Leona o to, jakiego rodzaju stosunek łączył go z Felicytas, lecz zagadniony, potrafił dać wymijającą odpowiedź i to wystarczyło Ulrykowi — który w powieści jest przedstawiony jako człowiek rozsądny — do poślubienia Felicytas, pomimo to, iż jej wola w całej sprawie dla ludzi mniej dalekowidzących nie budziła żadnych wątpliwości. Leon, udając się do Ameryki, proponuje swej kochance, by mu towarzyszyła. Rada zdawała się doskonała. Gorszący skandal zamknął przed nią salony jej sfery, narażał ją więc na zbyt silną pokutę za popełnioną winę.

Powróciwszy po kilku latach z Ameryki, gdy jej przestępstwo utonęłoby w potoku zapomnienia, Felicitas mogłaby śmielej zapukać do wrót wyższego towarzystwa. Oprócz tego, samo uczucie miłości nakazywało jej pójść za radą Leona. Urzeczywistniałaby swe marzenia i połączyłaby się dozgonnym związkiem z człowiekiem ukochanym. Nic naturalniejszego nad to. Felicitas jednak nie cofa się przed myślą o rozłące i woli zostać w domu. A więc to kokietka! — nasuwa się pierwsze przypuszczenie. Musi to być zwolenniczka sportu miłosnego, która miłość utożsamia z miłostką i wskutek tego, ani sama nie jest wstanie zdobyć się na ofiarę, ani nie potrafi ocenić czyjegoś poświęcenia. A jednak Sudermann nie może nas zupełnie utrwalić w tem mniemaniu. Felicitas ma być według niego kokietką, w rzeczywistości zaś stoimy przed sfinksem, gdyż niektóre sceny dowodzą tak silnego i szczerego uczucia ze strony bohaterki, iż czytelnik odważa się posądzać autora o lapsus. Taką jak jest w powieści, Felicitas przedstawia połowiczną istotę która przypomina jedną z opisywanych przez Ribota chorób osobowości: bohaterka rozdwaja się w ten sposób w oczach czytelnika, iż staje się zupełnie nieuchwytną. Felicitas, którą nie kosztowało żadnych wysiłków ducha, związanie swych losów z człowiekiem nieukochanym, teraz ponownie zastawia sidła na swego starszego kochanka. Leon był naturą otwartą i gwałtowną. Czytelnik, wnosząc z jego dotychczasowego postępowania, ma prawo oczekiwać, iż Leon, ze względu na swą dobroć, postara się stopniowo zdejmować opaskę z oczów przyjaciela, by go ze zmroku nieświadomości nie wprowadzać odrazu na światło smutnej rzeczywistości. Lecz Leon milczy zupełnie, imputując sobie jakąś winę wobec swego przyjaciela, jak gdyby mężczyzna kochając kobietę, był odpowiedzialnym wobec przyszłych generacyi jej kochanków i mężów. Biedak dręczy się myślą o urojonem przestępstwie wobec tego, który przez swą lekkomyślność zawierzył półsłówkom przyjaciela i na nich ugruntował swój stosunek małżeński. Pokrzywdzonym okazuje się nie cień zabitego v. Rhadena, lecz osoba żyjącego przyjaciela. Następuje cały szereg scen, w których występują osoby zarzucające Leonowi jego nieszczerość. Zdawałoby się, że powinien zdjąć już nareszcie z ust swych pieczęć milczenia, tembardziej, że go trudno zaliczyć do małomównych, jeżeli weźmiemy pod uwagę jego dysputy z kochanką o przestępstwie i karze oraz o innych budujących ducha tematach, a jednak Leon wciąż milczy. Postanawia wreszcie odebrać sobie życie wraz z ukochaną kobietą i w chwili gdy odwiedza ją po raz ostatni w jej sypialni, zostają oboje zaskoczeni przez Ulryka. Biedna bohaterka, znajdując się przez długi czas pomiędzy młotem a kowadłem, razi nas mniej swemi sprzecznościami i poczęści budzi w nas sympatyę. Lecz to wprowadza nas w kolizyę z autorem, który każe dwu przyjaciołom po zaniechaniu pojedynku, wypędzić ją na cztery wiatry. Nie jesteśmy pewni, czy nie spotkamy jej kiedyś „Pod Lipami“ lub w Café Keck w kapeluszu a la Rembrand i białych rękawiczkach. W powieści znajdujemy oprócz tego wiele epizodów rażących swą nienaturalnością. Występuje tam student, w którego osobie ma być ośmieszonym piwosz-bursz, jest to atoli tylko karykatura. W powieści występuje między innemi podlotek Hertha, wychowywana na żonę dla Leona. Dziewczynka ta czerwieni się przy spotkaniu z psem Leona, gdyż zwierzę to było świadkiem ich pocałunków. Bezmyślnem byłoby odmawiać Sudermannowi daru spostrzegawczego. Idzie o to, że wiele rzeczy które mogłyby nas pogodzić z autorem, jest niewypowiedzianych, wskutek czego niektóre ustępy robią wrażenie dziwolągów i wybryków. Niedopasowują się one do ogólnego tła powieści i mimowoli rzucają w oczy najmniej wybrednemu czytelnikowi.

Urb.

— Idę! — woła radośnie w odpowiedzi, a własny głos budzi go ze snu.

Budzi się więc, ale teraz jest już innym zgoła człowiekiem. Chce wstać i nie może, probuje ręką poruszyć, ręka odmawia mu posłuszeństwa, posuwa nogą i noga spoczywa nieruchomie. Chce nakoniec głowę zwrócić w bok i tego uczynić nie może. Dziwi go to wszystko, ale nie martwi. Zdaje sobie jasno sprawę, że to śmierć, ale i to go nie przygnębia. Przypomina, że pod nim leży Nikita, który się ogrzał, żyje i zdaje mu się, że on jest Nikitą, a Nikita nim i że własne jego życie tkwi w tym, kogo od śmierci uratował.

Wytęża słuch i łowi uchem nietylko oddech Nikity, ale nawet lekkie jego chrapanie.

— Żyjesz? a więc żyję i ja! — woła z tryumfem. I coś zgoła nowego, coś, czego nie doświadczał nigdy w życiu, pierś mu teraz podnosi.

Przychodzą mu na myśl pieniądze, sklep, dom, kupna, sprzedaże i miliony Mironowa i trudno mu pojąć dla czego człowiek, którego zwano Bazylim Brechunowym, tak żywo zainteresował się tem wszystkiem.

— Ale cóż dziwnego — myśli dalej o tymże Brechunowie — wszak nie wiedział, w czem tkwi istota rzeczy. Lecz jeżeli nie wiedział dawniej, to ja teraz wiem. Teraz już nieomylnie, teraz wiem.

I znowu rozlega się nad nim głos, który go już raz wzywał.

— Idę, idę! — woła z radośnem wzruszeniem całe jego jestestwo. I czuje naraz, że jest teraz doskonale wolnym, że go już nic zgoła nie krępuje.

I nic już więcej, po nad to nie widział, nie słyszał i nie czuł na tej ziemi Bazyli Brechunow.

Dokoła tak samo kłębiły się tumany śniegu, a wicher zasypywał w dalszym ciągu futro zmarłego Brechunowa i drżącego na całem ciele gniadosza i zaledwie już widoczne sanie i Nikitę na dnie ich leżącego i rozgrzanego pod zimnym trupem pana.

X.

Nikita otworzył oczy nad ranem. Rozbudził go chłód, który znowu zaczynał przebiegać po jego plecach. Śniło mu się, że wioząc furę gospodarskiej mąki z młyna, ominął most i wóz jego ugrzązł w błocie. I widzi siebie dalej, jak podpełza pod wóz i usiłuje go podnieść, wyprostowując zgięty grzbiet. Dziwna atoli rzecz: wóz nie daje się wcale zruszyć z miejsca, a co gorsza, przylgnął do jego pleców, on zaś ani unieść go nie może, ani z pod niego się wydostać. Krzyże ma całkiem zgniecione. A jaki zimny ten wóz! Eh, wyleźć trzeba koniecznie.

— Zaprzestań, dość! — zwraca się do tego kogoś, kto mu krzyże przygniata wozem.

Worki — zrzucaj!

Ale wóz dławi go wciąż wzrastającem coraz bardziej zimnem. W tem rozlega się jakieś osobliwsze stuknięcie. Nikita całkiem się budzi i wszystko sobie naraz przypomina. Lodowaty wóz, to martwe, zamarzłe ciało gospodarza, które na niem leży, a stuknięcie, to zapewne odgłos kopyt gniadosza, które uderzyły dwukrotnie o sanie.

— Gospodarzu, hej gospodarzu! woła ostrożnie, przeczuwając już smutną prawdę Nikita i natęża plecy.

Ale gospodarz nie odpowiada, a jego tułów i nogi, twarde i zimne, ciężą jak ciężkie wagi.

— Umarł widocznie. Świeć Panie nad jego duszą, pomyślał Nikita.

Wykręca głową, przekopuje ręką śnieg przed sobą i patrzy. Jasno. Ale wiatr tak samo gwiżdże na hołoblach i śnieg tak samo sypie, tylko teraz nie smaga już z boku, ale zasypuje bezdźwięcznie coraz wyżej i wyżej sanie i konia, który ani się porusza, ani oddycha.

— I on zapewne już zmarzł — myśli Nikita. Jakoż rzeczywiście uderzenia kopyt, które zbudziły Nikitę, były ostatnią próbą utrzymania się na nogach całkiem już zesztywniałego gniadosza.

— I mnie, widać, już wołasz do siebie, Boże ojcze — szepce Nikita. — Niech się dzieje święta wola twoja. A jednak ściska się serce. Ale cóż robić, przez dwie śmierci człowiek nie przechodzi, a jednej nie uniknie. Byle tylko prędzej...

Wiązanki literackie.

Kraszewski jako publicysta.

My, Polacy, nie zdołaliśmy jeszcze wyrobić w sobie tej czci dla koryfeuszów piśmiennictwa narodowego, jaką mają n. p. Francuzi, którzy czytają i odczytują swoich wielkich pisarzów i twórców stylu, zaczynając od Rabelais'go, Montaigne'a lub Pascal'a i kończąc na romantykach; badają ich, komentują, piszą studya oświetlające ich dzieła z coraz to nowej strony, a dzięki temu poszanowaniu dla wielkości, dzięki wychowaniu młodych pokoleń na starych wielkich wzorach, doprowadzają formę swoich utworów do owej doskonałości, która tak nas zachwyca, tak ułatwia czytanie książek francuskich i tak wpływa na wszechświatowe znaczenie literatury francuskiej.

My nie mamy prawie tradycyi literackiej, a tak przyzwyczajeni jesteśmy odwoływać się do obcych powag, że, nie znając, już lekceważymy swojskie utwory. Jakże często zdarza się, że nawet ktoś, piszący o pewnym przedmiocie, nie wie, kto i co pisał już o nim po polsku! Czytający zaś więcej po polsku — traktują nieraz pisma jako rzecz sezonu i mody.

Gdy minie sezon modny, książka idzie w kąt, i okryta gęstą warstwą kurzu, czeka na historyka literatury. Prawda, że niewiele jest dzieł, które mogą zająć jeszcze stanowisko pośrednie między temi dwoma, t. j. mogą być czemś więcej niż przedmiotem mody i bibliografii. Za ideał każdej literatury narodowej uważać można wytworzenie pewnego rodzaju arcydzieł, któreby dawały wykształcenie wszechstronne co do formy jak i treści. Literatura, z której możemy zebrać taką biblioteczkę dzieł wybranych, obejmujących poezyę i wymowę, dziejopisarstwo i filozofię, publicystykę i prozę naukową, jest niezawodnie nietylko rękojmią dobrego smaku i wyrobienia przyszłych pokoleń pisarzy, ale żywotności narodu i wychowania czytelników.

Jakkolwiek uboga, literatura nasza nie jest pozbawiona takich utworów, i gdyby nie zaznaczony wyżej nałóg lekceważenia wszystkiego, co swojskie, znaleźlibyśmy nietylko wśród poezyi, jednej gałęzi, w której dawni pisarze jeszcze są czytywani — chociaż, pomimo nawet licznych tanich wydań, w nierównie mniejszym stopniu niż na to zasługują — znaleźlibyśmy i w prasie naukowej niemało rzeczy, które można wcielić do takiej „wiecznej“ biblioteczki wyborowej.

Taki pisarz n. p. jak Kazimierz Brodziński w innej literaturze byłby niezawodnie jednym z tych, którego znajomość należałaby do niezbędnych dla każdego zaczynającego poważniejszą lekturę młodzieńca, a tem bardziej gotujących się do zawodu literackiego. A czy wielu u nas jest literatów z najmłodszego pokolenia, którzy czytali prozę Brodzińskiego?

Stojący na pograniczu między klasycyzmem a romantyzmem, łączący zalety obu obozów, jest zarówno bliski nam duchem, jak czysty w formie. Ileż to mniej znacznych pisarzów w innych literaturach pełniło rolę wychowawców dla całych pokoleń.

Jeszcze w większym stopniu stosuje się to do Kraszewskiego, którego „Wybór pism“ obecnie wychodzi pod redakcyą Piotra Chmielowskiego. Oddział IX p. t. „Zarysy społeczne“ (Warszawa, Lewental 1894), obejmuje artykuły publicystyczne i polityczne od r. 1837 do 1861.

Jeśli kto z pisarzów naszych dźwigał na barkach swoich ciężar wychowania narodu, jeśli kto umiał uczynić ofiarę z naturalnego popędu wszelkich umysłów wyższych do tworzenia wykończonych arcydzieł, do skupienia się w jednym zakresie i zostawienia w nim pomnikowego arcytworu, ofiarę dla tego wielkiego zadania — rozlewania świateł na masy w najszerszym zakresie; jeśli kto w poczuciu obowiązków względem swego społeczeństwa i ogromu zadania do spełnienia rozproszył swój wielki talent, rzucając go naprzemian we wszystkie dziedziny literatury, to nikt nie uczynił tego w takim stopniu, jak ów kolos pracy i płodności, który przez cały długi żywot umiał dostrajać mowę swoją do zagadnień życia, który niepodobny do tylu innych długowiecznych pisarzów zapomnianych za życia, nie przestał przodować literaturze aż do chwili zgonu.

A dziś? Czyż słusznem jest to zapomnienie, które od razu otoczyło jego mogiłę?

Prawda, nie zostawił Kraszewski żadnego arcydzieła pierwszorzędnej miary; ale w tej masie pism, które stanowią jego spuściznę literacką znalazłoby się materyałów nie na jeden tomik „Złotych myśli“, czytanie zaś jego dzieł niezawodnie byłoby przyjemniejsze i bardziej kształcące, niż wielu efemerycznych produkcyi chwili bieżącej.

Nie był Kraszewski nigdy krańcowym postępowcem, ale był sprawiedliwy; zawsze umiał zachować miarę, wszędzie poza słowem szukał istotnej treści, między przeciwnościami mniemań — prawdy.

„Dla czego, wołał on, nie chcecie okiem prawdziwej filozofii z jednej strony, z drugiej okiem chrześcian prawdziwych spojrzeć na siebie? Dla czego nie przyznacie sobie prawdy, gdzie jest prawda, aby razem wytępić fałsz zastarzały, kędy on jest? Dla czego miasto kłócić się o słowa, nie dobijacie się myśli? Wypadki filozofii, które wyraża socyalizm, nie sąż wypadkami ewangelii? Chcecie braterstwa, miłości, dobra dla wszystkich, a zwłaszcza dla tych, co cierpią wieki przez odwieczne niedołęstwo lub samolubstwo. Czegoż innego żąda i co nakazuje ewangelia? cóż przyszedł opowiadać Chrystus? Wielkie i za nowe dziś uważane słowa: ludzkości, postępu, braterstwa, miłości, pierwszy raz prysnęły ze krwią krzyża Golgoty“.*)

Bardziej lokalny charakter mają „Choroby umysłowe XIX wieku“. Przebiega tu autor po porządku: Encyklomanię czyli „żądzę wiedzenia i umienia wszystkiego, odziedziczoną po matce Ewie“, Legofobię czyli obawę książek; próżniactwo — chorobę endemiczną krajów słowiańskich: tetanoę czyli skołowacenie, zatrzymanie umysłowe, gorączkę paskwilliczną itd.

Trzecie miejsce zajmuje obszerniejszy artykuł p. t.: „Synowie wieku“ (1842). Jest to charakterystyka typów spółczesnych, które nie w nader ponętnych barwach wychodzą z pod pióra autora. Dostaje się zwłaszcza kobietom postępowym:

„Lecz jestże dla kobiety emancypacya jaka po emancypacyi chrześciańskiej do żądania i uczynienia? Wszystko, co zrobić było można, zrobił dla niewiasty Chrystus“.

„A jednak patrzcie, jak poklaskują bezrozumni, gdy kobieta wychodzi z granic swego przeznaczenia, domowego koła, gdy zdziera z siebie tajemniczą zasłonę (!?) i śmiała, bezwstydna (?) wchodzi między nich“ i t. d. (str. 94—84).

Czwarty ustęp p. t. Rodzina jest obszernem sprawozdaniem z dzieła francuzkiego Béchard'a (1850). Pod tytułem „Gospodarstwo“ znajdujemy sprawozdanie z 18 tomów roczników gospodarstwa krajowego (1842—1851). — „Wieczory z r. 1858“ zajęte są w przeważnej części opisaniem Wołynia; urywek o zbytku dotyczy stosunków spółczesnych.

„Społeczność dzisiejszą, czytamy tu, na dwa wielkie można rozdzielić obozy: w jednym jest samo zaprzątnienie zysku i grosza, w drugim — komedya dostatku i zbytek, choroba pieniędzy i zaraza rozpusty. Niekiedy dwie te słabości łączą się w jedną i pierwsza jest tylko przygotowaniem do drugiej“.

„Pieniądz i jego użycie oto zadanie wieku“.

„Co gorsza, dorobiliśmy sobie wszelkiego rodzaju teoryę do naszego stanu, teoryę utylitarną do handlarstwa i spekulacyi, teoryę estetyczną do zbytnictwa...“ (193).

Artykuły z „Gazety codziennej“ z r. 1859 i 1860 potrącają o rozmaite przedmioty spółczesne lub historyczne. Znajdujemy tu i relacye ironiczne z seansów i pism spirytystycznych oraz rozmów z duchami, których nigdy nie brakło.

„W odczytach o cywilizacyi w Polsce“ spotykamy wiele pięknych i trafnych myśli. Prześliczną zwłaszcza jest charakterystyka pieśni ludowej i wyjaśnienie idei podań.

„Pieśń nie ma właściwie dziejów“ — powiada autor — lecz u ich źródła się mieści; bo ludu będąc własnością, dziś jeszcze lud tworzy ją tak prawie, jak śpiewał przed lat tysiącem; lud nie ma historyi, więc i pieśń jej mieć nie może. Możnaż powiedzieć, by dotąd w istocie stan wieśniaczy miał swe dzieje, miał swe życie?“

„Miłość i wesele, wojna, śmierć i pogrzeb, życie zaświatowe, oto tematy, na których pieśń przędzie się cała; dodajmy okolicznościowe i obrzędowe śpiewy, a cały ich zakres obejmiem“. (Str. 302.)

O bajecznych dziejach tak się odzywa Kraszewski:

„Lud z ubiegłych swych przygód tworzy to, czego dusza jego pragnie: ideał swój dziejowy. Prawda w nich nie absolutna, nie kronikarska, ale duchowa“ (str. 305).

*) Przedmowa do „Sfinksa“, r. 1846.

I cofa napowrót rękę, zamyka oczy i traci świadomość w tem przekonaniu, że teraz już naprawdę i ostatecznie umiera.

W południe następnego dopiero dnia chłopi odgrzebali łopatami Brechunowa i Nikitę na odległości 60 metrów od gościńca, a pół kilometra od wsi.

Śnieg głęboko wchłonął był sanie, ale hołoble i uwiązana na nich chustka jeszcze były widoczne. Gniadosz tonąc po brzuch w śniegu, stał całkiem biały, z suniętą uprzężą i derką, z martwą głową przygiętą ku zesztywniałej szyi, z nozdrzy jego zwieszały się sople, oczy pociągnęły szronem i obmarzły niby łzami. Tak bardzo schudł w ciągu tej jednej nocy, że tylko kości i skóra z niego pozostały.

Brechunow zastygł, jak zamrożony niedźwiedź i jak leżał na Nikicie z rozsuniętemi nogami, tak i zrzucono go w śnieg. Wypukłe, jastrzębie jego oczy, otoczone były także lodem, a szeroko otwarte pod przystrzyżonym wąsem usta napełniał śnieg. Nikita zaś żył jeszcze, chociaż miał całe ciało omarznięte. Gdy go zbudzono, był święcie przekonany, że już nie żył i że to wszystko, co się z nim teraz działo, działo się już na innym jakimś świecie. Skoro jednak usłyszał wołania chłopów, którzy go odgrzebywali i zrzucali z niego Brechunowa, zdziwił się na razie, że i na tamtym świecie chłopi umieją tak samo krzyczeć, jak na tym, a kiedy zrozumiał nakoniec, że znajduje się wciąż jeszcze na ziemi, raczej zafrasował się tem, niż ucieszył, zwłaszcza gdy dostrzegł, że u obu nóg ma odmrożone palce.

Dwa miesiące leczył się Nikita w szpitalu. Trzy palce wypadło mu uciąć, inne się zagoiły, mógł więc ponownie wrócić do pracy i przeżył jeszcze lat dwadzieścia, początkowo jako parobek, a potem na starość jako stróż.

Umarł dopiero w roku bieżącym we własnej chacie, jak tego zawsze pragnął, z płonącą gromnicą w ręku, pod obrazami świętych. Przed śmiercią prosił żony o przebaczenie i sam jej przebaczył bednarza, poczem pożegnał się z synem i wnuczętami i umarł, szczerze się ciesząc, że śmiercią swoją uwalnia syna i synowę od ciężaru żywienia go łaskawym chlebem i że teraz naprawdę przejdzie z życia, które mu już ciężyło, w inne, które z każdym rokiem stawało się dlań zrozumialszem i ponętniejszem.

Lepiej czy też gorzej mu tam, gdzie się zbudził po śmierci; spotkało go rozczarowanie, czy też znalazł wszystko tak, jak sobie wyobrażał — o tem każdy z nas w niedługim dowie się czasie.

KONIEC.

Artykuły z „Gazety codziennej“ z r. 1861 poświęcone są przeważnie sprawozdaniom z ruchu literackiego. Znajdujemy tu między innemi ustęp, świadczący o zapatrywaniu się Kraszewskiego na sztukę:

„Romans Temmego — powiada on z powodu jednej z ówczesnych powieści niemieckich — należy do potępionych u nas tendencyjnych, ale najlepsze romanse dawne równie są niemi jako dzisiejsze. Znajdziemy tendencyę w Heloizie, w Clarissie, nawet, jeśli chcecie, a dawniej od tego wszystkiego, w Don Kiszocie. Głównie idzie nie o to, by tendencyi nie było, ale aby ona nie szkodziła artystycznej wartości i nie pochłonęła jej sobą, aby była szczerą, nie obrachowaną“. (Str. 419.)

Niemniej słuszną jest i ta druga uwaga, której niestety, do dziś dnia nie chce uwzględnić wielu autorów i autorek:

„Od niejakiego czasu przestaliśmy wierzyć w książki zastosowane do wieku, płci i stanu. Są one rodzajem nieprzyjemnego lekarstwa, które się tylko z musu bierze“. (Str. 445.)

Zanadto był Kraszewski wrażliwy, jako poeta, a za mało mógł wyrobić w sobie zalet męża stanu, aby raz przyszedłszy do pewnych przekonań społecznych, wytrwać przy nich bez zmiany. Ale za to wszystkie tętna postępowe chwili, w której żył, znalazły dźwięczny odgłos w jego umyśle i jego pismach. Myśl o zbliżeniu między ludem a szlachtą, o równości obywatelskiej, występuje jaskrawo w jego powieściach, jak „Historya Sawki“, „Ulana“, „Ostap Bondarczuk“, „Budnik“, „Jaryna“; później gdy nastąpiła reakcya, daje się dostrzedz pewne wahanie, zrozumiałe zresztą aż nadto po wypadkach galicyjskich. W „Ładowej Pieczarze“ (r. 1852) idealizuje Kraszewski, patryarchalny byt Słowian. Ale już w r. 1858, gdy kwestya wyzwolenia włościan wstąpiła na drogę praktyczną, odbija się nowe usposobienie w powieści jego p. t. „Historya kołka w płocie“. W r. 1861 wydaje broszurę, poświęconą głównym zagadnieniom chwili bieżącej, a w r. 1862 rozpoczyna wydawnictwo dziesięciogroszowej biblioteczki ludowej.

Z umieszczonych w tym tomie prac trzy: „Asmodeusz“, Choroby wieku“ i „Synowie wieku“, należą do wcześniejszej daty (1837—1842) i wyróżniają się bardzo od następujących zarówno treścią, jak tonem.

Co do pierwszej widzimy w niej przewagę zagadnień ogólno ludzkich i wieczystych nad temi, które dotyczą kraju i doby bieżącej, i to tak dalece, że większość ustępów „Asmodeusza“ nie straciła swojej aktualności i dziś po upływie lat 58miu.

Mówimy dziś wprawdzie innym językiem i innym tonem, w innych objawach widzimy upadek, a w innych postęp; ale w istocie swojej jakże mała różnica między narzekaniami tych, którzy szukali jakichś wyższych celów w życiu przed laty 60ciu, i tych, którzy nie zadawalniają się teraźniejszością dzisiejszą!

Jakże mało świat się przekształcił! Zdaje się niekiedy, że dość jest zmienić kilka nazwisk i dat, i można przedrukować w zastosowaniu do chwili bieżącej cały szereg ustępów z „Asmodeusza“.

A może to pokrewieństwo duchowe obu epok sprawia takie złudzenie. Bo przeciwnie, listy z Mokotowskiej ulicy lub listy z podróży, pisane w dwadzieścia parę lat później, sprawiają dziś wrażenie jakiejś odległej, prawie bajecznej epoki.

Porównajmy pod tym względem odpowiednie rzeczy z publicystyki francuskiej, np. „Questions de mon temps“ Emila Girardina, publicysty również wrażliwego, również nie stałego jak Kraszewski, również łatwo odźwierciedlającego każdy przeważny prąd chwili bieżącej. Jakaż tam żywotność zagadnień, jaka pełnia życia i chwilowej aktualności w każdym artykule!

Zkąd ta różnica?

Bo we Francyi społeczeństwo żyło wówczas prawdziwem życiem umysłowem i politycznem, bo w łonie jego wyrabiały się ideały, które niebawem miały się urzeczywistnić, a publicystyka, będąc odbiciem tego jawnego lub utajonego życia, schodziła do szczegółów, do zagadnień konkretnych chwili bieżącej, do interesów dnia.

U nas zycia takiego nie było, publicystyka służyła tylko celom popularyzacyi i szerzenia wykształcenia — zadaniu, które i dziśby jeszcze mogła pełnić z korzyścią dla ogółu — stała więc na wyżynach oderwanych, odbijała to, co zawsze jednakowe, bo płynie z wiecznej i niezmiennej natury ludzkiej, nie zaś z charakteru danego człowieka lub danej chwili.

Kraszewski zostaje tak dalece na owych wyżynach, że w „Asmodeuszu“ nawet wcale nie potrąca o stosunki krajowe. Ztąd też owa pesymistyczna prawda słów „Asmodeusza“, że w istocie wszystko zostało tem samem.

Kiedy Kleofas z Asmodeuszem zawisają nad Paryżem, pierwszy, chcąc czemkolwiek zbić ironiczny pesymizm drugiego, wskazuje mu udoskonalenia i zmiany, jakie zaszły od czasów, gdy pisany był „Le Diable boiteux“.

— Nic osobliwego nie widzę, — odpowiada szatan.

— Jakto? i nie widzisz, co tu porobiła para, ów cudowny wynalazek, który tyle machin obraca naokoło, tyle siły i czasu oszczędza?

— A powiedzże mi wprzódy, jakeście użyli oszczędzonych rzeczy; wówczas będę się dziwił i chwalił. Siłę ludzką i czas ludzki zbywające, gdzieżeście obrócili? Daliżeście im jakie lepsze zatrudnienie od dawnych, bardziej szlachetne, korzystniejsze dla ich szczęścia? Spójrz-no w okolice Lyonu! nie sąż-to tłumy głodnych i biednych wyrobników, których bankructwo Ameryki, a w części niedostatek zatrudnienia — próżniactwa, pijaństwa i rozbojów uczą? Jestto użytek z oszczędzonych czasu i siły? (str. 6).

Albo ten ustęp o piśmiennictwie, dogadzającem czytelnikom, o spekulacyi wydawniczej:

„Subskrypcye stały się loteryami, na które prenumerują dla prym wielkich, lub zegarka z łańcuszkiem. Każde pismo peryodyczne, wprzód, nim ustali ducha, tendencyą i charakter, nim się na świat wychyli, ma towarzystwo akcyonaryuszów, które czuwając nad swojemi zyski, myśli tylko o uczynieniu pokarmu smacznym, nie zaś zdrowym“. (str. 17).

Albo owe narzekania na literaturę trującą, na widowiska demoralizujące, przyczem za demoralizatorów i trucicieli wystawiają się (pożal się Boże!) tacy, jak Hugo, Dumas, Sand! Jakież to ponure przepowiednie przyszłości:

„Wszystkie zbrodnie, kolorowane starannie, znalazłyby obrońców, co mówię: nawet panegirystów, powiada Asmodeusz. A piekło i ja cieszymy się niewymownie. Samo pijaństwo, pod tylu poetycznemi formy jakichś nadziemskich szałów pewnie więcej zyskało prozelitów, niżeli ich straciło staraniem towarzystwa wstrzemięźliwości. Literatura zepsuta jest jak owa trucizna XVI wieku; można ją dać na upodobany czas; zabije na godzinę lub na sto lat. Nie ujdzie wam bezkarnie ta chwila szału“... (str. 19-ta).

Dalej idą reklamy, samobójstwa, spowodowane przez żądzę użycia, pojedyńcze i zbiorowe lub z miłości nieszczęśliwej.

— Idźmy ztąd, — woła Kleofas, — gdy mu szatan pokazuje mającego zabić się z miłości poetę, — to okropne!

— Prawda — odpowiedział szatan. Dawniej byłby się zamknął w celi klasztornej, dziśiaj w łeb sobie strzeli. Petrark zestarzał się z miłością niezaspokojoną w sercu. Abeillard umarł, pisząc do Heloizy, lecz oni nie dziś żyli, mieli oprócz miłości inny cel, inną myśl w życiu“... (str. 35).

„Listy z Mokotowskiej ulicy“ i „Listy z podróży“ (1861) poświęcone są przeważnie polityce. Pierwsze traktują o niej na podstawie broszur i dzienników zagranicznych, drugie oparte są na obserwacyi bezpośredniej. Są to najżywotniejsze i najświeższe kartki z całego tomu, kartki poświęcone wypadkom tak ważnym jak odrodzenie Włoch, sprawy wschodnie, wojna amerykańska i t. d. Mają one ten urok, jaki zawsze wywiera historya swego czasu pisana przez spółczesnego, świeża i pełna barw lokalnych i czasowych, z których ją odzierają stopniowo Dzieje, wcielając karta za kartą do swojej księgi i objektywizując przez perspektywę lat i wieków.

Tom ten polecamy każdemu, kto zbiera biblioteczkę pisarzów swojskich: wertowanie jego sprawi przyjemność jednym, budząc wspomnienie odległych, przeżytych w młodości czasów, naukę dla innych, wykazując jak się zmieniają poglądy na wypadki, jak powracają dawne prawdy i dawne błędy, a dla wielu dziś jeszcze lektura ta będzie kształcąca, gdyż niejeden przesąd, z którym walczył niegdyś Kraszewski, trwa dotąd w swojej sile wśród pewnych warstw społecznych.

Wł. M. Kozłowski.

NA WYŁOMIE.

(Dublańczycy na wystawie. Błędna organizacya gościnności. Zapomniano o Sokołach. Wskazówki na przyszłość.)

Ubiegły tydzień wystawowy nosił etykietę Dublan. Niebieskie mundury galicyjskiej młodzieży snuły się po wystawie wstęgą błękitną, lub zbite w bukiety niezapominajek zdobiły pawilony i kawiarnie. *Russische Offiziere!* — mówili Niemcy, a inni z trwogą pytali, czy to polska armia.

Nie wiem, czy studentów dublańskich zbudował nasz przemysł i rolnictwo nasze, ale zdawało mi się, że wywieźli oni wrażenie pewnego chłodu i opuszczenia, że pokazano im tysiące maszyn, pługów, bron i siewników, ale nie pokazano gorętszego serca, że pieszczono ich ucho melodyą marszów, mazurów i walców, ale nie zanucono im filareckiej pieśni młodzieńczego entuzyazmu. A przecież to *młodzież* zawitała do nas, — nie tyle agronomi łaknący nauki, ile garść duchów wiosennych szukających ognia, serca, płomiennej poezyi i dum brylantowych na kresach narodu. Niechaj „Dziennik Poznański“ nie nadrabia miną, pisząc w straszliwie stylizowanym artykule, że „Dublańczycy czasu nie marnowali i zrobili prawdziwie naukową wycieczkę“, bo my wszyscy bez wyjątku mamy to uczucie, że w tej pierwszej wizycie galicyjskich gości była jakaś pustka, jakiś ambaras, jakieś twarde melodye i zepsute klawisze. Toż nawet „Kuryer Poznański“, któremu każdy gorętszy objaw uczucia wydaje się grzeszną tromtadracyą, a każda iskra młodzieńcza zarzewiem pożaru, zdobył się na szczere wyznanie, że młodzież dublańska „potężnie się wynudziła“ w Poznaniu. Gdyby ta wycieczka galicyjskich gości była pierwszą i ostatnią, nie szukałbym winnych, bo odgrywać rolę prokuratora, gdy czerwiec śmieje się słońcem, wonią róż i falą kłosów rozkołysanych, kuszącem nie jest zadaniem. Ale ponieważ Dublany są podobno przednią strażą całej armii galicyjskiej, która w odwiedziny do naszego zawita obozu, więc dla zrehabilitowania poznańskiej gościnności, muszę znowu pióro na szpadę zamienić. — Kto winien? W pierwszej linii gospodarze domu, a raczej to grono osób, które na własną rękę zorganizowało przyjęcie. Nie wiem, czy polityczne uprzedzenia, czy osobiste niechęci, czy nadmierne zaufanie do własnych sił, czy wreszcie „lari-fari“ poznańskie odegrało rolę w tem dublańskiem święcie, — dość, że panowie gospodarze zamknęli w ciasnem kółku działalność swoją i nie powołali szerszych kół obywatelstwa a mianowicie młodszej inteligencyi do pracy organizacyjnej. Mnóstwo osób kochających młodzież gorąco, mnóstwo rówieśników dublańskich studentów dowiedziało się dopiero nazajutrz po przybyciu gości o sympatycznych odwiedzinach, a nie znając ani rozkładu poszczególnych momentów wizyty, ani miejsca i godziny wspólnych rozrywek, szukało napróżno zetknięcia z gronem młodzieży. Inni znów upatrywali w postępowaniu „gospodarzy domu“ tendencyą usuwania ludzi dobrej woli lecz innego obozu od galicyjskich gości i chęć otoczenia błękitnych Dublańczyków ludźmi jednej koteryi, a w takich warunkach ten i ów szukał młodzieży i znaleść jej nie mógł, trzeci zaś i czwarty oświadczał bez ogródki, że „nie myśli się wpraszać“ do panów gospodarzy.

I zdziwiło wszystkich, że organizatorzy przyjęcia zapomnieli zupełnie o istnieniu „Sokołów“ w Poznaniu. Toż drużyna sokola byłaby z całej duszy powitała galicyjskich gości, a młodzież dublańska przy dźwiękach sokolskiej kapeli, w otoczeniu sokolskich mundurów i w atmosferze sokolskiej wieczornicy byłaby odetchnęła tem życiem słonecznem, tym zapachem wiosny i młodych uniesień, których pragnie dusza dwudziestoletnia. Nikt nie postarał się zkomunikować z drużyną sokolą, a przecież taka wieczornica serdeczna, pełna pieśni i płomieni mogła stać się wspaniałym momentem wystawy i jednem z najmilszych wspomnień dla dublańskich gości. A Sokoły to serdeczne chłopcy! Pokochawszy braci galicyjskich, byliby chętnie przy nich straż honorową pełnili, luzując małą garstkę gospodarzy, którym zmęczenie, obowiązki familijne i zawodowe, a w części i wiek nieodpowiedni ciążyły jak kula u nogi.

Dość, że błękitnym mundurom było tu cudzo na poznańskim gruncie. Nieraz wieczorem snuła się ta gromadka po ulicach samotnie i pytała przechodniów o drogę, a jeden z szczerszych młodzieńców oświadczył podobno melancholijnie, że Poznań wydaje mu się sennym, zimnym i starym. Nie skłamał Dublańczyk, ale zdaje mi się, że wrażenie to, na ogół prawdziwe, może za silnie ozwało się w młodzieńczem sercu, bo lubo płomieni u nas mało, to przecież palą się jeszcze gdzieniegdzie, tylko ich przelotna drużyna dla nieszczęśliwej formy przyjęcia dostrzedz nie mogła. Nie chciałbym, aby galicyjskich gości durzono dekoracyami sztucznemi i fałszywym jednodniowym blaskiem, ale z drugiej strony żalby mi było, gdyby ten gród nasz wydał im się skąpany cały w Rembrandtowskich tintach, a „*plein air'u*“ życia nie ujrzeli wcale.

To też na przyszłość, gdy znowu do nas w gościnę przybędę bracia z nad Wisły lub Pełtwi, Poznań inne oblicze ukazać powinien upragnionym gościom. Nie chciałbym, aby słowa moje uraziły lub rozgoryczyły któregokolwiek z naszych hetmanów i aranżerów, bo przecież nasi „nieomylni“ raz wreszcie wyleczyć się powinni z chorobliwego nałogu szukania w każdej krytyce żółci, osobistych niechęci i tym podobnych fałszywych intencyi. Pragnę gorąco, aby ta wystawa, której nadano niemieckie piętno, i z której dziś jeszcze zrywają biało-czerwone chorągiewki, stała się przynajmniej nowem przymierzem i nowem zbrataniem trzech słupami granicznemi rozdartych zaborów, pragnę, aby tam, gdzie przemysł polski tryumfować nie może, tryumfowała przynajmniej idea narodowej jedności, i pragnę, aby wielkopolska ziemia ofiarowała gościom swoim z Galicyi i Królestwa wiele serca i wiary. Niech te drużyny ukochane widzą, że my nie umarli jeszcze w straszliwej walce z germańskim polipem i nie wyziębli jeszcze w lodowniach lojalizmu, i niechaj biorą i dają nam miłość, aby ona jak wąż ognisty opasała trzy zabory — jeden naród.

Więc bez gniewu i bez uprzedzeń panowie geronci! Walka nasza polityczna, społeczna i etyczna niechaj wre i szumi, ale tu połączyć nas winien wspólny interes narodowy i wspólna ambicya. Jeżeli małostkowe swary domowe przeniesiemy na arenę wystawy, jeżeli typowa małoduszność pewnych koteryi i jednostek sieciami intryg swoich omota poznańską gościnność, to każda uroczystość świecić będzie charakterem połowiczności i dysonansem zgrzytnie ta chwila, która stać się powinna świętem braterstwa.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Hr. Stanisław Rzewuski zamieścił w jednym z ostatnich numerów „Figara“ artykuł szerszy, poświęcony autorowi „Rodziny Połanieckich“, której tłomaczenie francuskie ukaże się w najbliższym czasie. Hr. Rzewuski doradza Francuzom, by powieść Sienkiewicza czytali, jest ona bowiem tak pełną myśli, tak doskonałą estetycznie, iż dorównywa „arcydziełom romansu rosyjskiego, nieśmiertelnym książkom Tołstoja, Dostojewskiego i Turgeniewa“. Przytoczywszy następnie szereg nazwisk wybitniejszych polskich pisarzów współczesnych, zaznacza hr. Rzewuski, że literaturze polskiej brakowało tylko genialnego pisarza, którego dzieła wzbudzićby mogły podziw całego świata cywilizowanego. „Sądzę — mowi autor — że p. Sienkiewicz stanie się takim Ibsenem lub Tołstojem polskim“. Zowie on dalej „Rodzinę Połanieckich“ jedną z wielkich książek „naszej epoki kłamstwa, złości, szarlataneryi i głupoty, gdzie piękno, sprawiedliwość i dobroć zwyciężają tak rzadko“.

* * *

Ostatnie dwa numery „**T y g o d n i k a I l u s t r o w a n e g o**“ przyozdabiają prace Piusa Welońskiego „Wniebowstąpienie“, Maurycego Trębacza „Marzenie“, winieta Rapackiego „Mój“, przepiękna reprodukcya z obrazu malarza włoskiego Muzzioli'ego „Święto kwiatów“, cały szereg portretów i innych drobniejszych ilustracyi. W dziale literackim, oprócz prac rozpoczętych, znajdujemy śliczny wiersz naszego poety Ely'ego (Asnyk) „Sprzeczne prądy“, Gomulickiego „Deszczyk“, korespondencyą „Z Loreto“ Wł. St. Reymonta, a wreszcie kroniki „Z tygodnia na tydzień“ Quisa i A. J. Sęka.

* * *

„**L u d**“, organ Towarz. ludoznawczego we Lwowie. Pięknego tego pisma, wydawanego pod redakcyą prof. dr. Kaliny, wyszedł właśnie zeszyt drugi, zawierający: połowę pracy Adolfa Strzeleckiego: „Z dziejów pierwotnej rodziny“, dalej pracę K. Matyasa „Zapust, Popielec, Wielkanoc“, dalej przegląd czasopism (nowy zeszyt niemieckiej „Zeitschrift für Volkskunde“, omówiony przez prof. Kalinę), Poszukiwania i Kwestjonarjusz, program sekcyi językowej, protokół z posiedzeń zarządu, sprawozdanie o trzeciem miesięcznem zgromadzeniu naukowem jako też o stosunkach, jakie ponawiązywało Towarz. ludoznawcze z innemi Towarzystwami i redakcyami czasopism, spis darów i wykaz nowych członków Towarzystwa, których liczba doszła już do 131. Jak widzimy z tego numeru, zarówno Towarzystwo jak i jego organ rozwijają się pięknie i rokują wielkie nadzieje zarówno dla rozbudzenia ruchu naukowego, jak i dla zbliżenia się inteligencyi naszej z ludem.

* * *

Nr. 10 lwowskiego tygodnika „**M o n i t o r**“ wyszedł i zawiera: Choroba biurokratyczna. — Znowu „nasz“. — Jeszcze samorząd. — Brak charakterów. — Odwrotna strona rewolucyi. — „Przełom“. — „Walka motyli“. — Pogrzeb żołnierza, (wiersz). — Fejleton: Z szarych końców“.

* * *

O wychowaniu kobiet. Berliński tygodnik „Kultura Etyczna“ podaje z listu Fryderyka II o wychowaniu kobiet, co następuje:

„Nie zadajemy sobie pracy w kształceniu rozumu u dziewcząt, pozostawiamy je bez wiadomości, nie wpajając w nie nawet poczucia cnoty i honoru, a wychowanie zwyczajne kładzie nacisk na powierzchowną przyzwoitość, na zachowanie się i ubranie. Do tego dodaje się powierzchowną znajomość muzyki, znajomość kilku komedyi i romansów, tańca i gier — i na tem kończy się już cały zakres wiadomości rodzaju żeńskiego. Bierzemy za złe Czerkiesom, jako barbarzyńcom, że obznajmiają swe córki z wszystkiemi tajemnicami zalotności, aby je potem tem drożej sprzedać mogli dla seraju w Stambule, i zwiemy to handlem niewolnicami; skoro jednak u narodu wolnego i oświeconego najpierwsi z szlachty podobnemu zwyczajowi hołdować się zdają, z pewnością nie minie ich ten sam zarzut choćby w najdalszem pokoleniu. Upadek kobiet bardziej ma źrodło w nieczynności ich życia, aniżeli w gorączce temperamentu. Bo przez dwie lub trzy godziny stoją u zwierciadła przypatrując się z upodobaniem swym wdziękom, całe popołudnie poświęcają obmowie, potem idą do teatru, potem zasiadają do gry, do wieczerzy, znów do gry — i czy jest tu czas, by zająć się samą sobą? Nudy i obrzydzenie tego miękkiego i nieczynnego życia prowadzą je na tor innych rozrywek, choćby dla odmiany, albo dla zapoznania się z innem nowem uczuciem. Przeto kto ludzi zatrudnia, daje im sposób do ochrony od złych przywar. Dziewczyna może zajmować się robotami kobiecemi, muzyką i tańcem, ale przedewszystkiem trzeba rozbudzić jej umysł i wpoić w nią zamiłowanie szlachetnych czynów. Oburzony byłem, widząc do jakiego stopnia lekceważą w Europie tę połowę rodzaju ludzkiego, zaniedbując wszystkiego, co kształci rozum. Mamy przecież kobiety, które mężczyznom w niczem nie ustępują, zaś przy usilniejszem wychowaniu odniosłaby ta płeć zwycięstwo nad nami“.

* * *

Także biografia! Biografowie znakomitych ludzi zbierają starannie wszystkie najdrobniejsze szczegóły ich życia — i jest to całkiem w porządku. Ale nie jest w porządku, jeżeli biograf nie umie odróżnić plewy od ziarna, bo w takim razie obniża wrażenie, przez co robi niedźwiedzią przysługę temu, którego uwielbia za życia czy po śmierci.

Takiego niebezpiecznego wielbiciela miał Matejko w osobie swego sekretarza, p. Maryana Gorzkowskiego. Ileż to razy budził on niesmak swojemi objaśnieniami, wyjaśnieniami, tłomaczeniami obrazów i czynów wielkiego mistrza naszej sztuki.

Umarł Matejko, a p. Gorzkowski znów o nim pisze. I dobrze robi, jeżeli zbiera daty do jego życiorysu i szczegóły do obrazu jego twórczości artystycznej. Ale za co go prześladuje swojemi... naiwnościami? W broszurze p. t. „Jan Matejko, epoka lat jego najmłodszych“, p. Maryan tak głęboko wnika w życie Matejki, że opisuje nawet jego lata niemowlęce. „Jako maleńko dziecko — są słowa p. Maryana — z trudnością i bardzo powoli nabywał mowy, najczęściej milczał, a pierwsze wyrazy, które w ustach dziecięcia powstały, a które najchętniej i z pewną łatwością do ludzi wymawiał, były: pany, baty, konie, wio“.

Pomijam całą śmieszność takich szczegółów, bo chyba nie ma bębna na świecie, któryby zaraz po mama i tata nie mówił caca, papa, pan, wio, hetta, koniki, peś, (ma być pies), ale klasycznem jest dalsze objaśnienie p. Maryana, nie wie on, „co te wyrazy w pojęciu małego dziecka znaczyły“, a ja mu mogę zaręczyć, że pany oznaczały mężczyzn, konie oznaczały zwierzęta czworonożne, używane zazwyczaj do zaprzęgu, a wio znaczyło jechać.

Pan Maryan sądzi jednak inaczej, bo się domyśla, że to było jakieś bezwiedne, jakimś może instynktem przeczute pojęcie o „artystycznem posłannictwie jego do tworzenia dziejów kraju naszego, w których panowie i szlachta na koniu w różnych potyczkach i bitwach tak wyraziście historyę kraju naszego napiętnowali“.

Nie podoba mi się, co prawda, to „napiętnowanie“, bo piętnować, to znaczy zohydzać, ale pragnąłbym jeszcze wytłomaczenia wyrazu baty. Kto wie, czy to Matejko nie przeczuwał przyszłych swych biografów, i czy nie sądził, że te instrumenty postronkowe słusznie powinny wejść w styczność z tymi, co będą pleść jak na mękach o jego latach niemowlęcych.

K. B.

* * *

Jaką powinna być kobieta? Niedawno w Wiedniu wygłosł znakomity anatom wiedeński, prof. Brühl, odczyt p. t. „Jaką powinna być kobieta?“ Profesor Brühl kończy właśnie 74 rok życia, poświęconego pracy i badaniom naukowym, czasu więc mu nie zbrakło na zdobycie niezbędnego doświadczenia, co znacznie podnosi wartość słów jego. Zaczął on od zbijania teoryi, że kobieta — już choćby z racyi słabszego działania władz umysłowych i zwojów mózgowych — nie może otrzymać wyższego wykształcenia. Zdaniem prof. Fischera w Monachium przeciętna waga mózgu mężczyzny równała się 1,350 gram., kobiety 1,250. Jakże wielkiem musiało być zdziwienie epigonów tego uczonego, gdy po jego śmierci mózg ważony dobiegł zaledwie do 1,245 gr. Prelegent twierdzi, że obowiązkiem państwa winno

być otwarcie kobietom wszelkich takich dróg, do których są one zdolne; ubolewa, iż dotąd do istniejących ośmioklasowych szkół żeńskich nie dodano dwóch kursów uzupełniających, gdzieby panienki otrzymywać mogły wyższe wykształcenie. Że kobiety dorównać są w stanie brzydszej połowie rodu ludzkiego, dowodzą choćby szkoły ludowe, w których przeciętnie dziewczynki wykazują lepsze rezultaty od chłopców; świadczy i stan kupiecki we Francyi, gdzie w rękach kobiet koncentruje się wiele ważnych i trudnych obowiązków. Cóż jednak pomogą starania mężczyzn, największych nawet przyjaciół emancypacyi kobiet, kiedy te ostatnie same najzagorzalszemi są jej wrogami. Wszak towarzystwo, mające na celu wyższe wykształcenie płci nadobnej, zdołało z wielkim trudem i mozołem w całym Wiedniu pozyskać zaledwie 284 członków. Z kolei wygłasza prof. Brühl twierdzenie, jaką kobieta być nie powinna. Zdaniem jego Ibsenowskie typy nie licują zupełnie z końcem bieżącego stulecia, a i nadto gorączkowe życie polityczne nie da się pogodzić z zaszczytnem zadaniem dobrej matki i pani ogniska domowego.

* * *

Klemens Junosza, fotografie wioskowe, Warszawa, 1895, str. 221.

I znów utalentowany nasz humorysta ze zwykłym sobie dowcipem i znajomością charakterów obdarza nas dwoma nowemi obrazkami. W pierwszym Abram Pinkt — żyd i Mateusz Sikora — chłop, porozumiawszy się z sobą, doskonałe robią interesy. Sikora poluje na zwierzynę w lasach pańskich i, o ile się da, ścina młode dębczaki — a to wszystko Abram kupuje, a raczej wyzyskuje od niego. Nawzajem służy mu za świadka, skoro chłop, zaskarżony do sądu o kradzież drzewa, miał odsiadywać karę. Po uwolnieniu za pośrednictwem żyda i jego współwyznawców, schodzą się i zaczynają wygłaszać swoje filozoficzne pod tym względem poglądy. Ukraść a wziąć, to wielka różnica — on nie wyprowadził konia ze stajni, nie rozbił cudzej skrzynki, nie wyłamał zamków, a nazywają go złodziejem! Za co? że wziął jakiś marny dąbek?... Te i tym podobne refleksye robi, idąc do gajowego Kogucińskiego względem owego dąbczaka; załatwiwszy z nim sprawę, spokojny wrócił do domu — i w istocie sprawa w sądzie w jak najlepszy dla niego zakończyła się sposób. — Cały ten obrazek, nacechowany wybornym humorem, jak wszystkie utwory Junoszy. W drugim obrazku także przedstawiony żyd, ale tu już nie z chłopem, lecz z samym dziedzicem ma do czynienia. Przebiegły żydek umie zyskać jego zaufanie i nie omieszkuje korzystać z tego przy każdej okoliczności. Pan Maciej, obywatel ziemski, właściciel ładnej, nie obdłużonej wioski, przeszedł już trzydziestkę, ale nie myśli się żenić, w czem mu dopomaga Icek, bo czuje, że wtenczas interesa jego by się pogorszyły. Wszystkie matki i ciotki, mające panny na wydaniu, polują na pana Macieja, ale on im się zręcznie wymyka. Jednakże los czy wypadek zdarza, iż ratując od niechybnej śmierci dwie nieznane mu kobiety, których konie uniósłszy, już miały wrzucić do rzeki, znajduje w młodej Helenie swój ideał i naturalnie ślubem kończy się to spotkanie, uszczęśliwiając ich oboje. Całość opowiadania wywiera, jak zawsze, dosadnością stylu i kolorytem właściwym dodatnie wrażenie.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Na wystawie przemysłowej w Poznaniu trwa w dalszym ciągu kłucie Polaków niemieckiemi śpilkami. W najświeższym czasie rozkazano w jednej z winiarni polskich zdjąć biało-czerwone chorągiewki, lubo kolor ten stanowi barwę prowincyonalną. — Strejk robotników mularskich w Lipsku zbliża się ku końcowi. Znaczna część pracodawców zgodziła się na podwyższenie płacy robotnikom. — Emigrowało z Niemiec za morze w pierwszych trzech miesiącach r. b. 5728 osób, a mianowicie z prowincyi hanowerskiej 579, z Bawaryi 497, z Brandenburgii 424, z W. Ks. Poznańskiego 412, z Szlezwiku i Holsztynu 356, z Prus Zachodnich 311, z Wyrtembergii 298, z Pomorza 284, z królestwa saskiego 281, z prowincyi nadreńskiej 270, z Palatynatu 239, z prowincyi heskiej 185, z Westfalii 180, z Badenii 166, z Oldenburgii 130, ze Szląska 117, z prowincyi saskiej 115, z Prus Wschodnich 92, z w. ks. heskiego 91, z Meklemburgii 65. Z innych dzielnic liczba wychodźców jeszcze jest mniejsza. Wogóle zmniejsza się emigracya od lat kilku stale, co stoi prawdopodobnie w związku z pogarszającemi się stosunkami w Stanach Zjednoczonych.

Zjazdy i kongresy. Ogólny zjazd Przemysłowców polskich zaboru pruskiego odbędzie się 14 i 15 lipca r. b.

Teatr i muzyka. Poznańskie towarzystwo dramatyczne bawiło w bieżącym tygodniu w Pleszewie. W poniedziałek wyjeżdża trupa nasza do Ostrowa. — Helena Modrzejewska wystąpiła na scenie krakowskiej w dramacie Okońskiego „Niewinni“. Słynna artystka rozpoczyna 15 b. m. gościnne występy na scenie lwowskiej, a w jesieni udaje się do Ameryki. — Teatr zimowy w Lublinie wydzierżawił aktor prowincyonalny p. Feliński. — Piszą z Paryża: W hotelu państwa Władysławowstwa Górskich, przy ulicy Siam, odbył się wielki raut, na którym zebrało się wiele osób z arystokratycznego i artystycznego towarzystwa paryskiego. Zaznaczamy nowy tryumf młodego muzyka p. Augusta Radwana, odniesiony na tem zebraniu. Paderewski, król absolutny fortepianu, usiadł wraz z młodym artystą — jako akompaniator. To samo jest już dla pana Radwana wieńcem. Grali koncert Paderewskiego, po skończeniu którego, kompozytor wstał wzruszony i uścisnął serdecznie młodego towarzysza, podczas gdy sala grzmiała od frenetycznych oklasków. — Na scenie teatru „Nowosti“ w Warszawie wystawiono przeróbkę z niemieckiego p. t. „Nasz doktorek“. Efektowny melodramat zyskał sobie wielkie powodzenie. Paryski „Figaro“ donosi, że w Paryżu zawiązał się komitet, złożony z najwybitniejszych przedstawicieli świata artystycznego i literackiego, celem wystawienia pomnika Fryderykowi Szopenowi. Pomnik ma stanąć w jednem z najwybitniejszych miejsc Paryża, w parku Monceau, wśród zieleni i kwiatów. Siedzibą komitetu jest Grand-Hôtel, a składki przyjmuje „Crédit Lyonnais“ i jego filie.

Wystawy. W Pradze otwarto 15 z. m. wystawę etnograficzną czesko-słowiańską. — W Amsterdamie urządzono wystawę przemysłową. — W Paryżu zapowiedziano otwarcie międzynarodowej wystawy litograficznej na 25 sierpnia. — W Brukseli otwartą została w maju międzynarodowa wystawa konserwów spożywczych. — W Wiedniu urządzono wystawę włoską ze szczególnem uwzględnieniem przemysłu jedwabnego. — Według sprawozdania obecnie ogłoszonego, zeszłoroczna wystawa w Antwerpii przyniosła czystego dochodu 285,166 franków. — Ogrodnicza wystawa w Magdeburgu otwartą zostanie 29 sierpnia, a wystawa mleczarska w Lubece 6 września. — Wojna nie przeszkodziła japończykom w wystawie przemysłowej w Kioto, która wypadła świetnie. — W Berlinie odbyła się wystawa bydła opasowego. W Paryżu urządzono wystawę historyczno-wojskową z czasów rewolucyi i pierwszego cesarstwa.

*** Kule z aluminium.** Pewien przemysłowiec z okolic Belfortu (Francya) sprzedał rządowi angielskiemu znaczną ilość kul aluminiowych swego wynalazku. Takie kule, wraz z odpowiednią bronią, będą rozdawane wojsku i policyi do tłumienia ulicznych zamieszek, strejków i t. d. Wiadomo, iż aluminium jest najlżejszym z metalów. Kule przeznaczone są zatem ku trzymaniu na pewnej odległości burzycieli porządku publicznego bez krwi rozlewu. Wprawdzie te kule na przestrzeni 100 metrów będą zadawały rany, ale daleko lżejsze od kul ołowianych, a pocisk już jest niewinnym na odległość 200 metrów. Podobno i rząd francuski zamierza korzystać z tego wznalazku.

* O k r o p n o ś ć co ci Polacy w państwie pruskiem wyprawiają. Straszne rzeczy w „Zukunft“, opowiada prof. Herkner o ich sile żywotnej (Zahllebigkeit).

W całem państwie pruskiem znajduje się tylko ośmiu starców, liczących wyżej nad sto lat, a pomiędzy nimi aż pięciu Polaków! To jeszcze nic, ale na 59 żyjących w tym wieku niewiast, znajduje się aż 45 Polek. Najwyraźniej chcą dokuczyć Niemcom!

„Intryga polska“ sięga jednak i głębiej i dalej. Według wykazów statystycznych, na sto małżeństw niemieckich w państwie pruskiem wypada 435 dzieci, a na sto małżeństw polskich 524 dzieci. Co tu począć z tymi „intryganami“ i z temi „intrygantkami!“

Dajmy wyraz współczucia boleści prof. Herknera i jeszcze większej zapewne boleści ks. Bismarcka, jeżeli prenumeruje „Zukunft“, lub gratis pismo to odbiera.

* W „K u r y e r z e W a r s z a w s k i m“ znajdujemy następującą dowcipną satyrę:

Posprzeczali się okrutnie
Z Panem boski raz Apollo.
Muz przywódca i bóg słońca
Twierdził słusznie, że na lirze
Gra — najwyższą z gier tej ziemi.
Pan zaś, fletnię sporządziwszy,
Co ją Syrinx ludzie zwali,
Na pamiątkę nimfy owej,
Którą w trzcinę zamieniono
Za to, że się opierała
Bożkom w sprośnych ich zapałach —
Pan zaś, wziąwszy fletnię ową,
Jął wysławiać jej zalety.
Wziął Apollo lirę swoją,
Wziął Pan także swoją fletnię
I do Lidji poszli obaj,
Gdzie królował wówczas Midas,
Znawca wielki i meloman.
A przyszedłszy do Midasa,
Rzekli: „Królu! Nie od dzisiaj
Słyniesz w świecie jako znawca,
Jako krytyk pierwszej wody,
Więc nas rozsądź! Powiedz, czyja
Gra jest wyższa, lepsza, czystsza,
Czyja źródłem jest rozkoszy
Większych, lepszych i podniosłych?“
Midas ręką skinął. Lirę
Wziął Apollo w palce jasne
I grał długo, a tak pięknie,
Ze motyle, zdjęte czarem,
O swych różach zapomniały.
Potem zasię Pan swą fletnię
Wziął i wygrał na niej parę
Kawałeczków melodyjnych
Jędrnie, żwawo i poprawnie.
Midas myślał długo, wreszcie
Sądu swego odkrył tajnię,
Mówiąc: „Palmę masz zwycięstwa,
Miły Panie, gra twa — wyższą
Jest nad gędźbę Apollina“.
Westchnął ciężko bóg Apollo,
Do Jowisza z skargą poszedł
I uprosił, aby Midas,
Jak oznakę honorową,
Ośle uszy dostał w darze
Za krytyczne swoje sądy...

N...i.

Zmarli:

Ks. P a w e ł B r o g l i e, filantrop i pisarz religijny, zm. zastrzelony w Paryżu 11 zm.

M a k s y m i l i a n M e n z, malarz historyczny niemiecki, zm. w Monachium w początkach maja.

BIBLIOGRAFIA.

Fr. Rawita Gawroński. Kartki z historyi szkolnictwa pod zaborem Rosyi. Lwów, 1895.

Jan Łada. Pastele. Lwów, 1895.

Antoni Godziemba Wysocki. Przez kłamstwo do szczęścia. Lwów, 1895.

Marya hr. Hagenowa (Alces). Szalone serca. Lwów, 1895. (Powieść).

Odpowiedzi Redakcyi.

X. X. W wierszu nadesłanym są piękne i silne ustępy, ale miejscami rażą błędy w składni i nie dość artystyczna „robota“. Prosimy o adres dla bliższego porozumienia w celu dokonania odpowiedniej korekty.

Dawny kleryk. Jest to nowa próbka nieuczciwości „Kuryera Pozn.“ My zamieszczając zdanie Chmielowskiego o Kościelskim, dołączyliśmy komentarz, że na opinję znakomitego krytyka godzić się bezwzględnie nie możemy. Uważając p. Kościelskiego za utalentowanego poetę, przekonaniu temu daliśmy wyraz odpowiedni. „Kuryer Pozn.“ upatruje niechęć stronniczą w powtórzeniu artykułu Chmielowskiego w „Przeglądzie Pozn“, a o końcowem zastrzeżeniu naszem nie wspomina ani jednem słowem. Zaiste! taktyka godna organu duchowieństwa, stróża religii i katechizmu.

N. N. Gniewa się Szanowny Pan, że nie zamieściliśmy nadesłanej satyry, i wzywa nas, aby napiętnować odpowiednio idyotyczną napaść „Kuryera Pozn.“ na pismo nasze. Z wskazówek Szanownego Pana i tym razem skorzystać nie możemy, bo przecież „Kuryer Pozn.“ stał się od pewnego czasu zbiornikiem takich dziwolągów, że na polemikę szkoda czasu i atłasu. Przed niedawnym czasem wypowiedział redaktor pisma naszego w dłuższym artykule opinje swoje o lojalno-klerykalnym dzienniku i na mocy przytoczonych dowodów rzucił tak jaskrawe światło na etykę „organu duchowieństwa“, że dziś już chyba powiedzieć można słowami M a r c e l l a z „Quo vadis“: P e r a c t u m e s t!“ Tak wołał lud rzymski, gdy jeden z gladjatorów otrzymał takie uderzenie, że nie potrzebował dobicia. Zresztą niech pana nie dziwią te bezgraniczne nonsensa, które wystawowo-teatralny reporter „Kuryera“ w polemice z nami popisał. Tego chłopczyka odsadzono dopiero niedawno od piersi i zamiast dać mu konika i trąbkę zrobiono go współredaktorem „Kuryera“. Niech Pan zatem raczy swój animusz wojenny skierować w inną stronę, bo zaszczytną nie jest rola Heroda, urządzającego rzeź niewiniątek.

Od Administracyi.

Zapytujemy niniejszem, czyby który z Czytelników naszych nie był łaskaw odstąpić nam numerów: 4, 16, 19, 20, 23, 27, 31 i 36 „Przeglądu Poznańskiego“ z roku 1894; prosimy w danym razie o podanie warunków.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 24. Poznań, Niedziela 16. czerwca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

Czas odnowić przedpłatę!

„Przegląd Poznański“ kosztuje kwartalnie na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi

3.75 mr.

w mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej, wraz z odnoszeniem do domu

3 mr.

we wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową

4.00 mr.

„Przegląd Pozn.“ zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 86 a.

TRESC.

Z najnowszych dziejów Szląska,

napisał

Szlązak.

II.

Z chwilą, gdy ziemię szląską przyznano i oddano w trzech działach zniemczonym, bo w Niemczech wychowanym wnukom Krzywoustego z syna Władysława, — już właściwie uważać można Szląsk za oderwany od Polski: bo chociaż faktyczny prawnopolityczny rozdział nastąpił dopiero w dwieście lat później za Kazimierza Wielkiego, już z chwilą ową pękły główne ogniwa polityczne, łączące Szląsk z Macierzą. Książęta Władysławowicze, obawiając się utraty ziem im nadanych pod grozą potęgi cesarskiej, za słabi, aby o własnych siłach stawić czoło zakusom książąt polskich, zmierzających znów do zlania rozdartej ziemi ojczystej w jednę całość, szukali oparcia o sąsiednie Czechy i o cesarstwo niemieckie. Potomkowie ich rozdrobnili ziemię Szląską na jeszcze mniejsze państewka, a koligując się z rodzinami niemieckich książąt i markgrafów coraz bardziej przechylali się na tę stronę. Porówno z rozdrobnieniem ziem dziedzicznych, upadała ich siła i znaczenie, upadały i dochody książęce, a mimo to każde książątko szlaskie pragnęło otaczać się blaskiem zewnętrznym i odgrywać w polityce rolę wybitną. Więc dla podniesienia siły i dochodów, zwłaszcza tych ostatnich, ściągali do swych księstewek kolonistów niemieckich, niemniej i dla tego, aby upewnić się przeciwko możliwym buntom wzdychających do Polski poddanych. I nastąpił w dziejach Szląska okres najsmutniejszy, okres frymarczenia ziemią ojczystą, językiem i zwyczajami. Za przykładem książąt poszła powoli i szlachta szląska i stósownie do potrzeby, zysku lub powiewu z góry zamieniała się w Czechów lub Niemców. Najlepsze spłaziny ziemi rozdawano kolonistom niemieckim, mieszczan z Niemiec sprowadzanych obdarzano samorządem prawnym a tubylców polskich gnębiono na każdym kroku. Klasztory niemieckie, osiedlone w znacznej ilości, zwłaszcza przez św. Jadwigę, która niestety położyła przez to główne fundamenta do germanizacyi dolnego Szląska, — wniosły język niemiecki do nabożeństwa kościelnego. Z biegiem lat, pod panowaniem zwyrodniałych potomków Krzywoustego zapanowała na Szląsku prawdziwa anarchia. Bezustanne wojny poszczególnych książąt między sobą podkopały najzupełniej ich powagę, a podejmowane li tylko z pobudek materyalnych, dla rabunku i grabieży, przyczyniły się do zupełnego upadku moralnego i zdziczenia zwłaszcza szlachty szląskiej, która i pod tym względem biorąc wzory z szlachty niemieckiej uprawiała rzemiosło zbójeckie po drogach i lasach nie gorzej, jak niemieccy „raubritterzy“. Lud polski gnębiony i wyzyskiwany na korzyść obcych przybyszów patrzał na to wszystko, nie widział nigdzie idealniejszych motywów i celów, więc musiał uledz ogólnemu zepsuciu. I w Polsce w owym już czasie zaczął się ucisk ludu wiejskiego porówno z wzrostem potęgi stanu szlacheckiego, ale tej szlachcie polskiej nie brakło i stron prawdziwie idealnych, które znów pośrednio oddziaływały dodatnio na lud wiejski i mieszczan. Lud w Polsce widział u panów swoich obok częstego wyuzdania moralnego także poświęcenie wielkie dla wiary i ojczyzny, patrzał na to jak pan jego rzucał w chwilach potrzeby dom i rodzinę, poświęcał fortunę dla obrony granic kraju, i to znów bezwiednie i w jego sercu wytwarzało i utrzymywało uczucia wznioślejsze. Lud szląski nie miał przykładów takich i dziwić się tylko można, że ocalałe jego resztki zachowały po dziś dzień poziom moralny, umożliwiający wskrzeszenie w jego sercu tak wzniosłej idei, jaką jest idea narodowa, i pokochanie tej idei ponad korzyści materyalne, które możeby dla niego wynikły z zupełnego zniemczenia.

Ma się rozumieć, że w takich stosunkach lud szląski musiał zupełnie zasklepić się w sobie, boć dwie wyższe warstwy społeczne, zniemczona szlachta i niemieckie mieszczaństwo, zajmowały względem niego wręcz wrogie stanowisko. Więc stał się ostrożnym, — jak to zwykle bywa u ludów gnębionych, — w zdradzaniu myśli i uczuć swoich i podejrzliwym w obec każdego, kto nie należał do ludu. To usposobienie pozostało po dziś dzień główną właściwością jego charakteru. Twarda walka o byt wobec coraz to nowych ciężarów nakładanych na barki jego przez książąt, urzędników książęcych i szlachtę nauczyła go cierpliwości i pracowitości, a od Niemców przejął trzy inne zalety: wytrwałość, chłodną rozwagę i oszczędność. Z wyjątkiem jednostek, w których natura słowiańska w pierwotnej utrzymała się czystości, lud szląski nie łatwo da się przekonać, nie łatwo się zapala do nowych dla niego spraw i pojęć, jest w sprawach takich, zanim się o ich słuszności przekona, chwiejny wielce i każdą myśl nowa, zaszczepiona w umysł jego, chłodnemu poddaje rozumowaniu. Więc trudno wymagać, aby lud z takiem usposobieniem od razu rozgorzał ognistą miłością do matki Polski, — tem mniej, że on tej matki nie zna jeszcze wcale, albo zna ją tak, jak mu ją w szkole opisali pedagodzy-germanizatorzy.

Lud polski na Szląsku z chęcią czytuje powieści na tle dawnych dziejów polskich, zwłaszcza na tle bojów tatarskich i tureckich, (jednostki z pośród niego entuzyazmują się nawet do bohaterów polskich), cieszy się on, że to „Polacy“ tak walecznymi byli, ale nigdy nie powie „nasi!“ Trudno! Pomiędzy Polską dawniejszą, niezależną a Szląskim stoi murem pięć wieków rozłąki, wojen bratobójczych, zapomnienia i obcych wpływów Co te wieki sprawiły, wieki tylko zdołaja naprawić. Od razu ani przez lat kilka zmienić się to nie da. Przeszłości naszej, przeszłości Polski niezależnej lud szląski za swą przeszłość uważać nie może, bo nią nie była. Lud szląski opuszczony przez swą szlachtę, przywykł siebie samego tylko uważać za społeczeństwo całe, za cały narod, ma przed oczami tylko swoje społeczeństwo chłopskie, więc nie dziw też, że starej Polski szlacheckiej nie pojmuje wcale. Objawia się to mianowicie u nielicznej polskiej inteligencyi szląskiej. Ją razi nawet owa Polska szlachecka, nie może ona dopatrzeć się w niej stron dobrych, jeno widzi w niej to, czem ją straszono jak widmem złowrogiem w szkołach, pogwałcenie praw całego narodu na korzyść jednego stanu. A gdy się już pozbędzie tych uprzedzeń, gdy pod wpływem zrozumialszych dla niej arcydzieł literatury polskiej, cieplejsze uczucie dla tej Polski zrodzi się w jej sercu, wtedy znów mrozi ją pytanie: A czemuż to oddaliście nas na pastwę obcym! jakże przez tyle wieków mogliście o nas zapomnieć?“

Zaprzeczyć się wprawdzie nie da, że nie braknie między nami jednostek, które przeszłość Polski sercem a nie rozumem mierzą, które szukają w niej tego ciepła, jakie płynie z tradycyi narodowej, tego ciepła, którego sami nie posiadali, a które do rozgrzania się do dalszej

wytrwałej walki o idealne skarby narodowe tak koniecznie jest potrzebne, ale są to jednostki tylko. Być może, że naliczylibyśmy ich dziś już kilka tysięcy, — przyznać też trzeba, że te jednostki odgrywają u nas rolę apostołów, ale bądź jak bądź cała masa ludu dla Polski przeszłej, minionej, jest i pozostanie długo jeszcze obojętną.

Inaczej się rzecz ma co do Polski teraźniejszej. Poczucie polskości Górnoszlązaka tkwi głównie w jego przywiązaniu do języka ojczystego. I temu zaprzeczali niekiedy ludzie, którzy po raz pierwszy z Górnoszlązakami się zetknęli, bo pozory przeciwko temu zdawają się przemawiać. Przeciętny Górnoszlązak lubi się popisywać znajomością języka niemieckiego, często nawet, gdy kto z inteligencyi, jemu osobiście nieznany, zagadnie go po polsku, on po niemiecku odpowie; wina to pięciowiekowej germanizacyi i smutnych stosunków dzisiejszych. Niezliczone bywały i bywają wypadki, w których inteligencya niemiecka używała i używa języka polskiego tylko dla przedrzeźniania i wyśmiewania polskiego chłopa lub mieszczanina, iż za odpowiedź polską sypią się szkalowania i wyzwiska nawet. Trzeba wiedzieć, jakie upokorzenia i przykrości spotykają polskich Górnoszlązaków ze strony niższych urzędników państwowych, rekrutujących się jak wiadomo, przeważnie z wysłużonych podoficerów, za używanie mowy polskiej w stosunkach z władzami, ba, już za samą nieznajomość języka niemieckiego. Inteligencyi polskiej jest przytem na Górnym Szląsku tak mało, że i po dziś dzień znaczna część ludu wie tylko ze słuchu, iż są także „panowie“, którzy po polsku „rządzą“ (mówią), i się za Polaków uważają, ale takich panów na oczy nie widziała. Lud szląski, jak już powiedzieliśmy powyżej, jest bardzo ostrożny i podejrzliwy, i dla tego, nie znając interpelującej go po polsku osoby, aby uniknąć możliwych nieprzyjemności, woli odpowiedzieć po niemiecku, jeżli naturalnie włada tym językiem. Wprawdzie ucisk jęzka polskiego zaczyna i na Górnym Szląsku wydawać owoce swoje, naturalnie inne, jak się rząd spodziewa, bo coraz więcej mnożą się między ludem naszym jednostki, które tem pragną zdobyć większy szacunek dla języka swego, iż nawet na niemieckie pytania odpowiadają po polsku. — Atoli są to jednostki, ktore jeszcze ogólnej fizyognomii dzisiejszego położenia smutnego zmienić nie zdołały.

Niechże krótkie objaśnienie powyższe wystarczy na uniewinnienie ludu naszego i na zaprzeczenie twierdzeniom tych, ktorzy z takich pozorów wysnuwają wnioski niewłaściwe i nieuzasadnione. Zapoznajcie się Panowie bliżej z ludem naszym, przemówcie mu do serca, zaskarbcie sobie zaufanie jego, a roztaje przed wami i przekonacie się, jak gorąco kocha on język polski i braci jednego języka. Gdy bowiem się przekona, że ma przed sobą także „prawego“ Polaka, wnet otworzy serce swoje, i skarżyć się zacznie na trapiącą go niedolę i nieraz ze łzą w oku powie wam, jak się szczęśliwym czuje, iż poznał polskiego „panoczka“, co jeszcze mową ojczystą nie pogardził. Przypatrzcie się tylko ludowi, gdy przypadkiem słucha czysto polskiego kazania jakiego przez Szląsk przejeżdżającego księdza polskiego. Całą duszę jego ujrzycie skupioną w słuchu i wzroku. w oczach łez pełno, a nie tyle to słowo Boże wywołuje to rozrzewnienie, ile czyste dźwięki mowy ojczystej, coraz rzadsze niestety w kościołach naszych. Na tem też polega głównie niezmienny pociąg, jaki wywierał na Szlązaków naszych Kraków pobliski. Toć kościołów i miejsc odpustowych i u nas nie braknie. Księża niechętnie nieraz patrzą na te wędrówki swych parafian do Krakowa, ale poczciwych wiarusów naszych ciągnie tamtotąd magnetyczna siła, która łamie wszelkie przeszkody i trudności, siła czystych dźwięków mowy polskiej.

Nieprawda też jest, jakoby język ludu naszego był już tak bardzo popsutym, iż Polakowi z innych dzielinic zrozumieć nas trudno. Tylko w miastach i w pobliżu miast zmięszał się u nas język polski z niemieckim tak, że utworzyła się gwara pośrednia, tak zwane „wasserpolnish“, — ale zajrzyjcie, Panowie, dalej do miast, tych centr niemczyzny, oddalonych wiosek naszych, a usłyszycie wyrazy i formy, jakby żywcem ze Skargi, Reja i Kochanowskiego wyjęte. Rzecz naturalna, że język nasz, usunięty ze szkół, nie pielęgnowany przez ludzi wykształconych, zachował niekiedy średniowieczną rubasność, że braknie ludowi wiele nazw polskich na rzeczy pojęcia, jakie nam dały wieki ostatnie, ale właśnie niezmierna gorliwość, z jaką lud nasz stara się przyswoić sobie z książek i gazet te brakujące mu wyrazy polskie, dowodzi najlepiej, że język swój miłuje i to szczerze miłuje i że pragnąłby tak go wydoskonalić, iżby się zupełnie mógł obyć bez pomocniczych wyrażeń niemieckich. Wiele zwyczai staropolskich i słowiańskich z biegiem wieków pod parciem niemczyzny wyginęło u nas zupełnie, ale język pozostał. Około języka tego skupia się dziś całe życie duchowe ludu naszego, jest to ostatni klejnot z bogatej spuścizny po ojcach, ostatnia nić wiążąca nas z macierzą i z przeszłością naszą, z ową zamierzchłą wspólną przeszłością pod pierwszemi Piastami. Język też polski jest dziś i pozostanie na zawsze ogniwem nierozerwalnem, łączącem nas z wami, język ten spoi znów odłam nasz z macierzą, a wspólne nasze narodowe interesa, wspólna nasza niedola, dokonają reszty. Nie żądajcie więc od nas, bracia Wielkopolanie, abyśmy się entuzyazmowali dla przeszłości, która ciężko w obec nas zawiniła, dla ludzi, którzy, jak Kazimirz Wielki, w waszem mniemaniu otoczeni są aureolą wielkości, ale którzy nas wydali na pastwę niemczyźnie, nie sądźcie z braku entyzyazmu dla tej przeszłości, iż nie chcemy być Polakami. Nie! Zbliżcie się pojęciami do nas, poznajcie nas bliżej, a przekonacie się, że tą samą, co wy, miłością tchniemy dla naszej wspólnej ojczyzny i dla tej pięknej mowy naszej, która przecież jest najwybitniejszem znamieniem narodowości. Co było, to minęło bezpowrotnie. I dla was byłoby lepiej, gdybyście więcej o przyszłości aniżeli o przeszłości myśleli. Rozerwani w przeszłości podajmy sobie dłonie i wspólnemi siłami stwórzmy sobie przyszłość wspólną!

Myliłby się też, ktoby sądził, że germanizacya Szląska w przeszłości postępowała torem spokojnym, że lud polski bez oporu poddawał się zalewającej go powodzi. Bogu jedynemu wiadomo, ile u nas łez i krwi z tej przyczyny płynęło. Dla zrozumienia owej wzniosłej chwili dziejowej, którą wam przedstawić wziąłem sobie za zadanie, trzeba znać przynajmniej pobieżnie wszystkie momenta walki polszczyzny z niemczyzną. Wspomnienia ich chowają się dotychczas przeważnie po archiwach lub mniej znanych monografiach. Więc w następnym artykule pokrótce wam opowiem te krwawe dzieje walki naszej w obronie narodowości i języka, której początki sięgają XIII wieku.



POLITYKA.

Stosunki partyjne Czech.

I.

Niespełna sześć milionów Czechów zamieszkuje Czechy, Morawę i Szląsk. Obok Czechów, stanowiących większość ludności tych prowincyi Austryi, mieszka przeszło trzy miliony Niemców.

SVEN LANGE.

ENGELKE.*)

Tłomaczyła **Marya L.**

Asesor Jerzy Bergström nie mógł sobie dokładnie zdać z tego sprawy, jak to się stało, że się zaręczył — lecz z dokonanego faktu niezmiernie był zadowolonym. Doznawał uczucia spokojnej radości na myśl o szczęśliwem przybiciu do portu spokojnego, od burz zabezpieczonego. Tembardziej, że syt już był wszelkich rozkoszy i przyjemności życia, jakich Kopenhaga, młodemu człowiekowi z dobrem wychowaniem i majątkiem dostarczyć może. Znał też wszystko i wszystkiego już kosztował i nie obce mu były tajemnice rozkoszne „chambres séparées“, — przedmiot marzeń młodzieńczych lat jego. Dzięki autorstwu pewnej farsy, grywanej w jednym z drugorzędnych teatrów, — miał wstęp i za kulisy, gdzie był uczestnikiem wielu wesołych przygód. Teraz jednakże, syt już był tego wszystkiego, lecz nie przesycony bynajmniej. Używał on życia rozsądnie, a chociaż spijał słodycze jego wielkiemi haustami, czynił to nie nadmiarę, tak, że bez wstrętu, bez gorzkich wyrzutów sumienia, wstecz spoglądać może. Jest zdrów na ciele i duszy, a życiem na tyle nie znużony, że dobra książka, piękne dzieło sztuki, a nawet teatr dawniejszego dlań uroku dotąd nie straciły. Pod jednym tylko względem nieśmiertelna jego dusza wielki uszczerbek poniosła: dawniej posiadał on niezwykłą fantazyą w tworzeniu i wyszukiwaniu delikatnych przysmaków i jego wyszukane obiady znane były w mieście całem. Ten jego przymiot z biegiem czasu znacznie osłabł — stał się teraz w ogóle mniej w potrawach wybrednym. Z udanym smutkiem przyznawał się do tego, lecz przypisywał to, jak wiele innych rzeczy, ogólnym niwelującym, proletaryzującym dążnościom czasu. Mała ta zmiana w jego osobie nie przyprawiała go też bynajmniej o smutek; ogólnie bowiem biorąc, nie miała ona wielkiego dlań znaczenia. Nie było też powodu do niezadowolenia z siebie: zwłaszcza gdy porównywał się ze swymi towarzyszami lat młodzieńczych. A czynił to dla tego dość często.

Pamiętał ich wszystkich wybornie; twarze ich zupełnie wyraźnie przesuwały się przed wyobraźnią jego, niby widma rozwiewane. Ale były to widma, żal budzące czasem, często zaś uśmiech politowania. Gdzie też oni wszyscy?

Poszli w świat daleki, po którym rozsypali się jak garść piasku. Losy kilku znane mu były. Kilku umarło, inni wywędrowali do Ameryki, lub gdzieś w najodleglejsze kraju zakątki. Niektórzy poświęcili się dziennikarstwu i rozwijają pełną błogich skutków działalność społeczną, której nieraz wzgarda dla samego siebie towarzyszy. Jeszcze inni wznieśli się w swej kramarskiej moralności tak wysoko, że z całym zapałem występują teraz i walczą przeciwko postępowym dążeniom nowoczesnym. Jeden został nawet misyonarzem wśród chłopów... itd. itd. Zestawiając więc siebie z tymi wszystkimi, dochodził do wniosku, że jakoś z nim nie najgorzej się działo. Należał on do kategoryi ludzi, którym wiedzie się wybornie, którym okoliczności stale sprzyjają. Nawet piękne oblicze jego — o ciemnych oczach i przepysznych zębach, którym tyle tryumfów zawdzięczał, — pozostało świeżem niezmienionem. Lecz i przekonania jego żadnej nie uległy zmianie. Pozostał wiernym radykalizmowi lat swych młodzieńczych. Nigdy nie miał zwyczaju ukrywać swych zapatrywań, jakiemiby one były — tak też i teraz czynił, chociaż nie odczuwał ich już tak żywo i z takim nie bronił zapałem. Jako człowiek wolny, niezależny, ze zapewnioną rentą, mógł z całym spokojem oddawać się swym upodobaniom.

Do tych upodobań należało pewne abstrakcyjne podziwianie ludzi biorących gorący udział w codziennej walce o sprawę, która, zdaniem jego, jedynie była słuszną. Z szczególnem jednak zamiłowaniem drwił sobie z owej mało-

*) Sven Lange, autor niniejszej noweli jest synem znanego i po za granicami Skandynawii lekarza, profesora Karola Lange, a wnukiem Palludaua Müllera, autora „Adam Homo“. Nowela, którą tu w przekładzie podajemy, jest pierwszym utworem młodego autora, który w kraju swym z niezwykłem na wstępie zaraz, spotkał się uznaniem. Przyp. Red.

Ludność czeska otoczona jest prawie ze wszystkich stron zwartą masą Niemców, którzy w ciągu kilku stuleci pozbawili tubylców słowiańskich granic naturalnych, odrzuciwszy ich od gór. Mało tego: i na czysto czeskiem terytoryum istnieją dość znaczne kolonie niemieckie. Trzeba pamiętać również, że miasta czeskie zwłaszcza większe, obfitują w ludność niemiecką, do której zaliczają siebie i żydzi. Jeśli dodamy, że prawie cały wielki przemysł tak samo jak i znaczna część wielkiej posiadłości ziemskiej znajduje się w ręku Niemców, to od razu zrozumiemy, dla czego walka z germanizacyą zajmuje tak ważne miejsce w życiu narodu czeskiego.

Ta to walka z grożącym ze wszech stron żywiołem niemieckim napiętnowała cały charakter politycznej i społecznej działalności Czechów. Potrzeba bronienia na każdym kroku indywidualności narodowej wyrobiła u Czechów energię, wytrzymałość, pracowitość i przedsiębiorczość. Tocząc ustawiczną walkę z Niemcami, Czesi nie mogli oczywiście uchronić się od wpływu kultury niemieckiej i z czasem poczęli używać na swą obronę środków, przejętych od wrogów. W ten sposób na wzór niemieckich narodowych Turnvereinów powstał „Sokół“ czeski; niemiecki „Schulverein“ dał impuls do założenia „Maticy szkolskiej“; nawet teoretyczne zasady słowianofilstwa czeskiego zostały zaczerpnięte z dzieł... Niemca Herdera.

Rzecz całkiem zrozumiała, że u narodu, który był zmuszony w ciągu wieków walczyć o istnienie ze światem germańskim; idea solidarności i wzajemności słowiańskiej zbudziła się wcześniej niż gdzieindziej. Prawie każdy Czech marzy o połączeniu w jednę całość całej Słowiańszczyzny dla wspólnej walki z Niemcami. To zaś połączenie narodów słowiańskich przedstawia sobie Czech w formie najzupełniej fantastycznej, wcale nie licząc się z istniejącymi stosunkami słowianofilstwa weszło w krew Czecha i obecnie stanowi niemal integralną część jego poglądu na świat. Czech czuje się Słowianinem prawie więcej niż Czechem, przyczem słowianofilstwo jego, nie poparte znajomością spraw słowiańskich posiada jakiś naiwnoromantyczny charakter.

Kamieniem węgielnym słowianofilstwa czeskiego jest rusofilstwo. Nic też w tem dziwnego. Ponieważ wszystkie narodowości słowiańskie znajdują się przeważnie w położeniu daleko gorszem niż sami Czesi, wskutek tego oczy słowianofilów czeskich musiały się zwrócić ku jedynemu potężnemu państwu słowiańskiemu, odgrywającemu w Europie tak wybitną rolę.

Rusofilstwem jest przesiąknięty cały naród czeski, poczynając od inteligencyi, a na chłopach kończąc. Z tego jednak wcale nie wynika, że Czesi znają Rosyę. Bynajmniej. Rzeczywiście znających Rosyę nawet w kołach literatów i publicystów czeskich można na palcach policzyć. Mało tego, wśród Czechów możemy spotkać ludzi, którzy całkiem otwarcie powiadają, że nie chcą Rosyi poznawać, ponieważ to „mogłoby rozbić ich ideały słowiańskie“. W skutek tego w Czechach często spotykają się ludzie, nawet wśród inteligencyi, którzy są najmocniej przekonani, że pewnego pięknego dnia Rosya wypowie wojnę Austryi, uwolni Czechów z pod jarzma Niemców i spełniwszy ten akt „wzajemności słowiańskiej“, pozwoli Czechom czynić, co im się żywnie podoba. Prasa młodoczeska wszelkiemi siłami stara się podtrzymać u ludu tę nadzieję na pomoc Rosyi, używając rusofilstwa mas ludowych jak straszaka na Niemców i rząd austryacki, który w istocie boi się, lub też udaje, że się boi „panslawizmu“. Zwłaszcza czynne są w tym kierunku „Narodni Listy“, przedstawiające główny organ stronnictwa „wolnomyślnego“ (tak się nazywa urzędownie partya młodoczeska). Ten to dziennik „wolnomyślny“, stojący na stanowisku demokratycznem, mówiąc o stosunkach czeskich, przedzierzga się w entuzyastycznego obrońcę reakcyi i wstecznictwa, jeśli idzie o Rosyę. Mówiąc o Rosyi, usiłuje wyzyskać najmniejszą drobnostkę, byle tylko przedstawić Rosyę w świetle korzystnem. Ma się rozumieć, że jak najskrzętniej omija wszystko, coby mogło rzucić cień najlżejszy na państwo Romanowów.

Na szczęście naród czeski za daleko posunął się już w swym rozwoju, żeby agitacya podobna mogła mu zaszkodzić, jak to widzimy u Słowaków węgierskich, których inteligencya w nadziei na pomoc Rosyi, całkiem opuściła ręce i nic nie robi dla swego nieszczęśliwego narodu, pomimo warunków, bardzo sprzyjających takiej pracy. Czesi, ufając w pomoc Rosyi, niemniej pracują z całych sił i dzięki swej energii osięgają bardzo wiele.

Maksymum żądań, przy spełnieniu których wedługo mniemania Czechów, rozwój narodowy narodu czeskiego będzie zagwarantowany, wyraża się w dążeniu do wznowienia t. zw. „czeskiego prawa państwowego“. Nie wyjaśniwszy sobie znaczenia czeskiego prawa państwowego, nie możemy zrozumieć ani stosunku Czechów do Niemców, ani stosunku prowincyi czeskich do Austryi. Czeskie prawo państwowe jest kamieniem węgielnym programów wszystkich stronnictw czeskich; nawet u socyalistów, którzy zawsze oświadczali się przeciwko prawu państwowemu dość energicznie, ujawnia się obecnie zwrot ku niemu.

Na zasadzie czeskiego prawa państwowego Czechy, Morawa i Szląsk powinny stanowić jedną nierozdzielną całość państwową, w kształcie samodzielnej prowincyi państwa austryackiego. Przytem każda z wyżej wzmiankowanych prowincyi ma korzystać z jak najszerszej autonomii i zupełnej samodzielności w sprawach wewnętrznych. Ogniwem, łączącem te trzy prowincye, jest osoba króla czeskiego i wspólne prawo obywatelstwa, t. j. prawo, na mocy którego obywatelstwo, uzyskane w jednej z prowincyi, ma znaczenie i w dwóch pozostałych. Na zasadzie czeskiego prawa państwowego powinien istnieć jeden, ogólny sejm jeneralny, składający się z przedstawicieli wszystkich trzech prowincyi. Do sejmu jeneralnego należy obiór króla i wszystkie sprawy, całego państwa czeskiego dotyczące*). Sprawy wewnętrzne każdej prowincyi ulegają kompetencyi sejmów prowincyonalnych. Na mocy czeskiego prawa państwowego oba języki t. j. czeski i niemiecki korzystają z zupełnego równouprawnienia. Król rozporządza finansami, bije monetę i ma prawo zwołać pospolite ruszenie dla obrony od niebezpieczeństwa, zagrażającego państwu czeskiemu i jego władcy, a od roku 1820 dla obrony i wszystkich innych prowincyi monarchii Habsburgów. Oto są główne rysy czeskiego prawa państwowego.

Gdyby się Czechom udało dopiąć swego celu t. j. nakłonić cesarza austryackiego do wznowienia czeskiego prawa państwowego, to w takim wypadku osiągnęliby wielkie korzyści pod każdym względem, zwłaszcza pod względem ekonomicznym, ponieważ wszystkie dochody prowincyi czeskich byłyby używane prawie wyłącznie na zaspokojenie potrzeb miejscowych. I pod względem narodowym osiągnęliby Czesi bardzo dużo, ponieważ wówczas szkolnictwo zależałoby od nich bezpośrednio i wszelkie tendencye germanizatorskie byłyby całkiem sparaliżowane. Rozumie się, że Niemcy czescy są zasadniczymi przeciwnikami wznowienia czeskiego prawa państwowego, ponieważ po spełnieniu żądań Czechów znaczenie pierwszych w prowincyach czeskich wielce się uszczupli. Nie będą już odgrywali roli — gospodarzy kraju, korzystających z poparcia rządu centralnego; nie będą już nawet pewni tego, że większość czeska zechce trzymać się litery

*) Po raz ostatni zgromadził się sejm jeneralny w r. 1836.

mieszczańskiej płytkości i głupoty, które w drogiej jego ojczyźnie wszystkie dziedziny życia publicznego coraz więcej opanowywały.

O tyle byłoby mu dobrze zupełnie. Lecz w miarę zrywania dawnych przyjacielskich stosunków wzrastała w nim nieprzezwyciężona niechęć do nawiązywania nowych. Ograniczoność, głupota ludzi, z którymi się schodził, irytowała go, — w towarzystwie zaś ludzi przeciętnych, nudził się szalenie, dla tego właśnie, że byli takimi, jakimi zazwyczaj ludzie bywają... Gdy zaś napotkał człowieka wybitniejszego, unikał go mimowoli, zapewne dlatego, że w stosunku do kogoś nie chciał być niższym; mając zaś pewne wątpliwości, co do równości w stosunku wzajemnym, wolał wycofać się zawczasu. Tak więc, chociaż z wielu ludźmi obcował, z żadnym nie żył się bliżej przez szereg lat, a z czasem żyjąc samotnie, nabierać począł wiele nawyknień starego kawalera. Wszyscy, nie wyłączając jego samego, myśleli, że tak już do końca życia pozostanie, aż tu niespodzianie zapoznał się raz pewnego, z przyszłym teściem swoim, Dr. Pauli, docentem uniwersytetu kopenhagskiego.

Dr. Pauli, w średnim wieku, był człowiekiem, który dla duńskiej literatury niemałe położył zasługi; nazwisko jego, dzięki kilku dziełom filozoficznym i estetycznym, zaszczytnie było znanem. Sam chętnie zwykł mówić o swoich dziełach; z szczególnem jednak upodobaniem zatrzymywał się nad małą swą rozprawą, zatytułowaną: „Spinoza jako optyk“, w niej bowiem, zdaniem jego, najlepiej odzwierciadlały się własne jego poglądy. Wykazywał on w rozprawie tej, na wskroś oryginalnej, że głównym powodem skłaniającym starego mistrza do poświęcenia się optyce, była jedynie i wyłącznie dążność jego umysłu i chęć badania wszystkiego przez szkła jasne, przejrzyste...; obok zaś tego zbijał w sposób niezwykle dowcipny z ledwie dostrzegalną ironią, ogólne twierdzenie, jakoby Spinoza jedynie dla uniknięcia śmierci głodowej rzemiosłem tem się trudnił. Opierając się na wielu cytatach z dzieł wielkiego filozofa, dowodził, że wszystkie tegoż pisma wyraźnie o jego zajęciu świadczą, co więcej, że zrozumiane być mogą tylko na tej podstawie. Względu więc tego nie należy pomijać w przyszłości przy badaniu i krytycznem rozpatrywaniu poglądów Spinozy.

Dzieło to swego czasu ogólne wzbudziło zainteresowanie, a jako utwór docenta uniwersytetu, nie mogło być naturalnie milczeniem pominięte. Lecz to mu nie wystarczało. Ambicya jego nie była jeszcze zaspokojoną. Sądził, że w świecie filozoficznym, zrobi książka jego, niezwykłe wrażenie i nieznane dotąd, nowe wskaże drogi krytykom Spinozy, że stanowić będzie niejako punkt wytyczny dla późniejszych dzieł krytycznych. Nawet w przedmowie do rozprawy, tak wielkie wypowiedział nadzieje, lecz zawiódł się w swoich oczekiwaniach. Książkę przełożono nawet na język niemiecki, lecz znaczenia europejskiego nie nabrała nigdy. W kilka lat później wydał więc rozgoryczony dzieło o męczennikach wiedzy, którego sztuczny patos i gorycz nietajona zanadto przypominały czytelnikom osobiste autora zawody i żale.

Książki tej o mało, że całem swem stanowiskiem nie przypłacił; zawierała ona wiele zapatrywań wielce postępowych, zjednała więc sobie przychylną ocenę prasy radykalnej, której współpracownicy uczuli się blizko z omawianymi w książce męczennikami spokrewnieni. To zaś wywołało wielkie niezadowolenie w ministerstwie, które nie mogło zezwolić na rewolucyjne przekonania swych profesorów uniwersyteckich. Miało to ten skutek, że Dr. Pauli postanowił na przyszłość swe przekonania zachowywać dla siebie, — o ile były rewolucyjne, — te zaś, które na wykładach lub odczytach głośno wypowiadał, w zupełnej były zgodzie z poglądami panującymi u góry. No i nie minęła go nagroda: w krótkim czasie został kawalerem orderu.

Dr. Pauli małego był wzrostu; ruchliwy, wielomówny, bardzo towarzyski, — a chociaż trochę złośliwy, dla swego dobrego humoru wszędzie mile był widzianym. Zwłaszcza lubianym był tam, gdzie niezupełnie dobrze go znano; najczęściej bowiem umiał on złośliwe swe uwagi wypowiadać tak, że dotknięty nie mógł zmiarkować, czy autor miał intencyą dokuczyć mu dotkliwie, choć intencya ta w rzeczy samej istniała.

Co do jego zdolności jako powagi naukowej były zdania podzielone. Przeciwnicy zwali go zwykłą miernotą, której jedyną siłą był t. zw.

drawa i nie pocznie uciskać Niemców. Że dużo Młodoczechów zapatrują się na wznowienie czeskiego prawa państwowego jako na środek do czechizacyi czeskich, morawskich i szląskich Niemców, jak również i Polaków w Cieszyńskiem, nie ulega najmniejszej wątpliwości, — ale, zdrowo myśląca część narodu czeskiego wcale o tem nie myśli, tem bardziej, że czechizacya Niemców nie jest fraszką. Na razie jednak czeskie prawo państwowe jest tylko marzeniem, bo rząd w przekonaniu, że prawo to stanie się biczem na Niemców i czynnikiem rozwojowym dla Słowiańszczyzny całą siłą opiera się takiemu ustępstwu.

II.

W r. 1890 większość okręgów wyborczych wiejskich i znaczna część miejskich wybrały do sejmu praskiego Młodoczechów. W roku następnym, podczas wyborów do parlamentu wiedeńskiego, Młodoczesi odnieśli walne zwycięztwo prawie we wszystkich okręgach wyborczych. Naród czeski odwrócił się od swych dotychczasowych przewodników, i w ten sposób stronnictwo staroczeskie naraz straciło prawie zupełnie wszelkie znaczenie. Przyczyna klęski stronnictwa staroczeskiego tkwi w jego ciągłych niepowodzeniach parlamentarnych, w jego często oportunistycznej taktyce, jak również i w tej krańcowej nietolerancyi, z którą odnosiła się względem swych przeciwników politycznych. W ten sposób np. fakt nieprzyjęcia do klubu czeskiego czterech posłów młodoczeskich mocno zaszkodził Staroczechom i właściwie mówiąc, od tego czasu poczyna się niezwykłe powodzenie Młodoczechów, zakończone ich zupełnym tryumfem. Stronnictwo staroczeskie, nie posiadające ani jasno określonego programu, ani rozumiejące kwestyi społecznych, wciąż kompromitowało się w oczach swych wyborców, stojąc po stronie rządu nawet przeciwko małej grupie posłów młodoczeskich. Ci ostatni umiejętnie skorzystali ze swego położenia i stawiając w parlamencie takie wnioski, za którymi w żaden sposób nie mogli głosować Staroczesi, doszczętnie zdyskredytowali stronnictwo staroczeskie w oczach narodu.

Wciąż wzrastająca świadomość polityczna klas panujących, bliższe zapoznanie się z kwestyami społeczno-ekonomicznemi zmusiły Młodoczechów do przerobienia programu i włączenia doń całego szeregu postulatów, których nie posiadali Staroczesi. Dzięki wpływowi t. zw. realistów, program młodoczeski, ogłoszony w r. 1891, jak odezwa wyborcza, wywarł jak najlepsze wrażenie i spotkał się z ogólną sympatyą. Żądania takie, jak powszechne głosowanie, podatek postępowo-dochodowy, rozszerzenie wolności prasy i zgromadzania się, unarodowienia szkolnictwa i czeskie prawo państwowe zdobyły Młodoczechom powszechną sympatyą i zapewniły im zwycięstwo podczas wyborów. Masa wyborców składająca się z najróżnorodniejszych elementów, oddała swe głosy Młodoczechom, przypuszczając, że nareszcie po długiej dobie działalności oportunistycznej stronnictwa staroczeskiego w parlamencie zjawią się młode i świeże siły, które w drodze konsekwentnej polityki opozycyjnej zdołają wywalczyć u rządu spełnienie woli całego narodu.

W istocie w parlamencie ukazały się świeże, nowe siły, które od razu zajęły stanowisko opozycyjne, ale oto upłynęły już cztery lata, a zwycięstwo Młodoczechów nic a nic nie dało narodowi czeskiemu. Dopóki liczba Młodoczechów w parlamencie była bardzo nieznaczna, sprawiali oni jako zdecydowani opozycyoniści najlepsze wrażenie na opozycyjnie nastrojonych masach, jednakże, skoro tylko władze dostały się do ich rąk, natychmiast pokazało się, że rola samodzielnych czynników politycznych przewyższa ich w siły. Szeroki program Młodoczechów pozostał martwą literą, a elokwentne oświadczenia i gromkie patosy posłów młodoczeskich ani o jednę jotę nie zmieniły położenia narodu czeskiego. Jak się okazało, pomiędzy Młodoczechami nie było żadnego uzdolnionego polityka. W gruncie rzeczy sami Młodoczesi mało się różnili od Staroczechów pod względem zasadniczych poglądów polityczno-społecznych i realiści, pod wpływem których zostały przyjęte do programu młodoczeskiego radykalne żądania charakteru społeczno ekonomicznego, przysłużyli im się w sposób wcale nie pożądany. Młodoczesi, przynajmniej większość ich, sama nie wie obecnie, co ma począć z tak radykalnym programem. Widzą oni, że za dużo przyjęli na siebie. Są w istocie takimi samemi oportunistami, jak i Staroczesi, a tu program zmusza ich do przedsiębrania kroków, mających dość ryzykowny charakter. Przy tem wszystkiem są oni tak gnuśni i opieszali, że prawie nic nie czynią dla rozpowszechnienia swych idei pomiędzy ludem. Wskutek tego naród pomału zaczyna rozczarowywać się w swych kierownikach i przestaje wierzyć ich gromkim frazesom. Już podczas ostatnich wyborów dopełniających można było zauważyć pewną apatyą wyborców, którzy już w mniej licznym poczcie brali udział w głosowaniu. Ożywiło to nadzieje stronnictwa staroczeskiego, które na zjeździe swym oświadczyło, że będzie energicznie przygotowywać się do wyborów następnych. Jednakże trudno przypuszczać, aby Staroczesi odnieśli chociażby w kilku okręgach zwycięstwo; są oni zanadto skompromitowani i swą dawną polityką i teraźniejszym swym sojuszem ze szlachtą i klerykałami.

Prawdopodobnie przy najbliższych wyborach Staroczesi, przedstawiający w sejmie praskim dość liczną grupę, znikną z widowni politycznej. Stronnictwo młodoczeskie zwycięży na całej linii, ale zwycięstwo to może być ostatniem. Obecnie Młodoczesi mogą jeszcze twierdzić, że im w sejmie przeszkadzają Staroczesi; skoro jednak ci ostatni ustąpią, wówczas nicość polityczna przywódzców stronnictwa młodoczeskiego okaże się w całej swej nagości. Bezowocność polityki młodoczeskiej przygotowuje grunt dla prądów, które nic przyjemnego na przyszłość Młodoczechom nie wróżą. Z jednej strony Młodoczechom zagraża ruch socyalistyczny, który w Czechach, jako w kraju o bardzo wysoko stojącym przemyśle fabrycznym, rozwinął się potężnie; z drugiej włościanie, dążący do utworzenia własnej chłopskiej partyi, już obecnie otwarcie występują przeciw Młodoczechom. Podobną zakusą, acz już w daleko słabszym stopniu pojawia się pomiędzy rękodzielnikami, nareszcie bodaj czy nie najniebezpieczniejszym rywalem na razie staje się t. zw. „ruch postępowy“, który wytworzył się głównie pod wpływem realistów.

Realizm przedstawia tak charakterystyczne zjawisko życia czeskiego, że musimy poświęcić mu dłuższą wzmiankę. Prąd realistyczny przejawił się najpierw podczas głośnych sporów o autentyczność rękopisów Królodworskiego i Zielonogórskiego, które rzekomo miały świadczyć o wysokim rozwoju kultury czeskiej w dobie zamierzchłej przeszłości. Już wkrótce po ogłoszeniu tych rękopisów autentyczność ich była podana w podejrzenie, ale stanowcze rozstrzygnięcie kwestyi tej odnosi się stosunkowo do czasu bardzo niedawnego, mianowicie do drugiej połowy dziewiątego lat dziesiątka. Grono profesorów na uniwersytecie czeskim w Pradze dowiodło na podstawie ścisłych badań historycznych, socyologicznych, filologicznych i chemicznych, że oba rękopisy są podrobione w „patryotycznym“ celu. Ci właśnie profesorowie stanowili pierwotną grupę realistów, których działalność ograniczała się początkowo do podnoszenia spraw wyłącznie naukowo-literackich. Z biegiem czasu realiści wystąpili i na widowni politycznej, kiedy trzej realiści (Masaryk, Kaizl i Kramarz) zostali wybrani do parlamentu.

Leon Wasilewski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

„*ésprit*“, i łatwy, bo powierzchowny sposób przedstawiania rzeczy. Dla przyjaciół był on przyjemnym, inteligentnym towarzyszem — a także obserwatorem znakomitym i stylistą świetnym. Sam o sobie mawiał często: „Jestem przecież — między wami mówiąc — jednym z najmędrszych w kraju naszym, ludzi“.

Z Bergströmem poznali się dziwnym trafem w nudnem jakiemś towarzystwie; siedząc obok siebie na kanapie, blizcy uśnięcia, przemówili przypadkowo do siebie słów parę. Po kilku zaś pytaniach i odpowiedziach rozwinęła się między nimi ożywiona rozmowa, rezultatem której było wzajemne przekonanie, że mimo różnicy wieku doskonale się z sobą zgadzają. Pauli zachwycony był śmiałemi uwagami młodego człowieka, które budziły echo w duszy jego własnej, gdzie dla 3000 koron pensyi najświętsze jego przekonania ukryte spoczywać musiały. Bergström zaś dumnym był z wdzięcznego słuchacza w osobie tak znanego człowieka i przepraszał go stokrotnie za niezbyt pochlebny sąd o nim, jaki był sobie poprzednio wyrobił, nie znając go wcale.

Przy pożegnaniu uścisnął Pauli serdecznie rękę młodego człowieka, mówiąc:

— Ciekaw jestem, czy też zechcesz pan zajrzeć kiedyś do mnie: niezbyt u nas, co prawda, wesoło, uprzedzam, żona moja nieboszczka przyzwyczaiła nas do tego cichego życia. Czasem pana dobre *toddy*, cygaro po kolacyi, a oprócz tego rozsądna pogawędka ze starym człowiekiem, który niejedno już widział na świecie. Przyjdź pan, proszę. Mam też dorosłą córkę dwudziestoletnią, która się przy panu może rozweseli, — humoru bo nie brak ci mój panie. Córka moja jest dość miła, ale małomówna bardzo; zapewniam pana, że ani słowa do ciebie nie powie. Musiałem być jakimś duchem proroczym przejęty, nadając jej imię „Engelke“; najprawdopodobniej ma to usposobienie swoje od matki, która równie była milcząca... A więc oczekuję Pana?

Bergström ukłonił się nisko, obiecując przyjść niedługo. Niedługo też potem poszedł rzeczywiście. A po krótkim czasie począł bywać w domu ich codziennie; czuł się tu dziwnie dobrze w towarzystwie starego doktora i jego córki. Przepędzając długie wieczory na miłych pogawędkach z doktorem o rozmaitych literackich i politycznych kwestyach — przy szklance toddy i cygarach — był tak zadowolonym, że do końca życia swego nie życzył sobie chwil przyjemniejszych. Sądząc z rozmowy, rzadko zgadzali się z sobą, czuło się jednak jakąś tajemną harmonią, łączącą dwóch tych ludzi: dzięki jej najgorętsze nawet dysputy nabierały łagodniejszego odcieniu.

O młodziutkiej Engelce, niewiele przebywającej z nimi, nie mógł wyrobić sobie żadnego sądu: widział ją czasem przy stole. Ścigał jej ruchy spokojne, gdy krzątała się, podając, nalewając i krojąc. Główną cechą jej powierzchowności był spokój: miała ruchy i rysy spokojne, a w oczach wyraz zamyślenia. Była jasną blondynką o włosach prawie białych, o cerze różowej a tak delikatnej, że chwilami zwłaszcza wieczorem przy lampie zdawała się należeć do zgoła innego świata. Cichą była tak cichą, że lekkie tik-tak zegara ściennego hałaśliwem było w porównaniu z nią. Bergström coraz więcej poświęcał jej uwagi, pragnął bardzo poznać z bliska tę zamyśloną dziewczynę, ciekaw był, co też w jej główce kiełkuje? Lecz niełatwą było to sprawą!

— Ona jest prenafaelistyczną! — powiedział raz sobie, a wyrażenie to wydało mu się najodpowiedniejszem dla określenia wrażenia, jakie na nim sprawiła. Lecz dla czego? Niełatwo na pytanie to odpowiedzieć. Wszystko składało się na to: wrażenia takie sprawiały może jej suknie staroświeckie, niemodne, które zarówno w lecie jak w zimie nosiła. Białe lub jasno-błękitne, bez ozdób najmniejszych, nadawały postaci jej dziwnego wdźwięku. Nazwa ta stosowała się może do jasnych jej włosów, złotemi lokami spadających na czoło i uszy, przez co główka niezwykłego nabierała wyrazu. A może sprawiał to wdzięk całej postaci, jej ruchy, dźwięk głosu, cera, a nadewszystko uśmiech łagodny, odbijający się czasem w jej oczach, obok pewnej sztywności w zachowaniu — nie wiedział sam: zapewne wszystko razem.

— Ona działa na mnie jak ton, jeden delikatny, stłumiony ton skrzypiec, gdy drgający w powietrzu przez chwilę, z ciszą nocy się zlewa... — mawiał do siebie.

Dziwnie bladem i oderwanem było pierwsze wrażenie, jakie na nim wywarła. Nie mogło

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego.

Z powodu policyjnej kampanii, rozpoczętej przeciw Towarzystwom polskim, zamieszcza „Orędownik“ (nr. 131) następujące uwagi:

„Dziwna to zaprawdę rzecz, że policya tak gorliwie występuje teraz właśnie przeciw polskim Towarzystwom. Publiczna manifestacya życia polskiego, jaka się objawia na polskich zabawach, majówkach, przedstawieniach amatorskich i balach, to doprawdy zanadto niewinna rzecz, nietylko nie szkodzi interesom państwa pruskiego, ale da się nawet z niemi pogodzić. Przez takie ograniczanie ograniczy się formę manifestacyi życia, ale ducha polskiego nie osłabi się i świadomości obywatelskiej w ludzie polskim się nie obniży.

Wszędzie i zawsze winniśmy bronić naszych praw przynależnych, choć nawet z góry wiemy, że to nadaremne. Najważniejszą rzeczą jednak jest to, żebyśmy sami siebie nie zaniedbali, żebyśmy samych siebie nie łudzili i dobrze widzieli, jakie jest nasze położenie. Ruch ludowy, ruch narodowo-obywatelski w wielkich masach naszej średniej i niższej klasy, to dopiero początek początku. Zrobiliśmy wielki krok, ale dopiero jeden. Przed sobą mamy prawie jeszcze wszystko do zrobienia, a siły nasze słabe, niewyrobione, doświadczenie choć twarde, ale nie długie. Zewsząd będziemy napotykali trudności i przeszkody, spekulujące na to, że się ruch narodowy, obywatelski w masach ludu polskiego — na Wschodzie — „in der Ostmark“, jak teraz Niemcy mówią, — da wstrzymać a następnie stłumić. Ruch ten tłoczy się dziś wązką ścieżyną między dwoma ścianami. Z jednej strony napór zwolenników politycznie dziś rozbitej partyi dworskiej, który znalazł w tych dniach swój świetny wyraz w odrzuceniu znanego wniosku posła Głębockiego przez Koło sejmowe i w rezolucyi tegoż Koła, tyczącej jawności obrad jego. Jedno i drugie świadczy o tem, że Koła nasze rezerwują dla siebie wszystko, a wyborcom i społeczeństwu pozostawiają stanowisko wiecznej bierności; że dają pośrednio sankcyą tej polityce, jaką prowadził w obu Kołach p. Józef Kościelski w ostatnich pięciu latach. Z drugiej strony pozostajemy pod naciskiem niezmiennego systemu pruskiego.

Będzie nam ciężko, droga nasza twarda i uporczywa będzie. Potrzeba nam więc spokoju, cierpliwości i rozwagi, by przetrzymać i znieść te wszystkie przeszkody; pójdziemy wolno, może żółwim krokiem, ale zawsze — naprzód, byleśmy się sami nie łudzili i nie zaniedbywali“.

W tym samym numerze donosi „Orędownik“ p. t. „Smutne wieści“:

„Podaliśmy w przedwczorejszym numerze o sprzedaży Podlesia Wysokiego przez p. Dziembowskiego z Roszkowa na kolonizacyą.

Nie jest to ani początek, ani koniec.

Rudnicz, który należy do p. Rutkowskiego, podano na subhastę, a mówią, że pan ten stara się także u komisyi kolonizacyi o sprzedaż. Gdyby to jeszcze chciano się ratować przed ruiną, nieszczęściem spowodowaną, ale mówią tu wszyscy, a i „Goniec“ już dawniej o tem wspominał, że tak nie jest i że Monaco stoi na usługach kolonizacyi i dla niej pracuje.

Również pójdzie na subhastę piękna posiadłość Żelice, należąca do p. Karola Nieżychowskiego“.

—

„Gazecie Opolskiej“ (nr. 45) nadesłano z Wrocławia odezwę następującą:

Rodacy!

Każdy naród ma swych sławnych mężów, którzy ognistemi słowy lub czynami szlachetnemi hartują duszę ludu, niby stal i dają podnietę i otuchę do dalszego życia i rozwoju narodowego. Są to mężowie, stojący na straży narodu.

Nasz naród szląski również odznaczył Bóg wielkimi ludźmi. prorokami, pieśniarzami, którzy wszystko poświęcili dla narodu i dobrej sprawy. Wśród najcięższej duchowej niewoli zesłał nam bohaterów, którzy całemi smugami rozsiewają pomiędzy nas iskry narodowego poczucia i kraj nasz, skazany od wieków na zniemczenie, odżywa coraz więcej, nabywa ducha coraz silniejszego i zostanie polskim, choćby jeszcze silniejszy tłok niewoli i znęcania się wywierano nań.

„Mowa ojczysta jest to największy skarb narodowy“, powiedział nasz niebogi Kapłan-Wajdelota Czesław Lubiński. Każdego prawego Szlązaka serce było pełne wdzięczności, każdy był przejęty na wskroś szacunkiem dla sędziwego kapłana pieśniarza, bezustannie pracującego nad rozbudzeniem ducha narodowego i uszlachetnieniem tegoż. Zgasło nam to serce wielkie. Jak potężnie kapłan ten ukochał naszą ojczystą polską mowę, obyczaje i ziemię, która go wydała, a była to staropolska szląska ziemia nasza, świadczą najlepiej piękne pieśni i utwory jego narodowe.

Był to kapłan potężny, był on prorokiem prawdy, wśród rozbestwionych dążności zaguby ojczystej gwary naszej, która coraz więcej odbija się o uszy naszych wrogów.

Cześć Tobie — Wielki Kapłanie! Pamięć Twoją chowa cały naród polski — to też prochy Twoje są dla nas relikwią.

Obowiązkiem naszym jest, należycie uczcić pamięć Twoją postawieniem pomnika Tobie — aby wszyscy wiedzieli, że żyjesz na zawsze w sercach naszych.

Pokażmy Rodacy, że i my umiemy to, co jest świętem, uświęcić i uszanować. Urządźcie pomiędzy sobą komitet, a wdowi grosz popłynie na ten cel“.

Do odezwy powyższej załącza „Gazeta Opolska“ komentarz następujący:

„Projekt jest usprawiedliwiony i wzniosły. Szan Korespondent nie wie jednak zapewne, że dla uczczenia zmarłego pieśniarza postanowiono już w dzień pogrzebu utworzyć fundusz imienia Czesława Lubińskiego i przyłączyć go do funduszu pomocy naukowej. Zaraz też złożyła garstka obecnej inteligencyi 300 mk. na ten cel. Zamieszczając więc powyższą odezwę dla samej już szlachetnej myśli w niej wypowiedzianej i dla ponownego przypomnienia narodowi, czem był dla niego ś. p. Czesław Lubiński (ks. Damroth), wyrażamy równocześnie wątpliwość, czy skutek będzie pożądany, mianowicie co do wystawienia pomnika. Natomiast powinna odezwa być zachętą do tem gorliwszych ofiar na pomoc naukową“.

—

„Dziennik Kujawski“ (nr. 129) tak się wyraża o rozwoju idei narodowej w zaborze pruskim:

„„Ojczyzna“ przestała być dla ludu marą niepochwytną, czczym frazesem. Co niegdyś było dlań sennem widziadłem, fantastyczną mrzonką, dziś przedstawia się oczom jego jako ciało namacalne, jako podpadająca pod zmysły rzeczywistość. I na całym obszarze począwszy od Raciborza aż do brzegów Bałtyku, gra „ojczyzna“ na duchowych strunach serc wszystkich swych dzieci w tajemniczy sposób jak na harfie.

...Górny Szlązk rwie się po pięciowiekowym śnie do narodowego życia, zrywa się do lotu lud wielkopolski i zachodnio-pruski, rodzi się nowy brzask w duszy Kaszuby z pod Kościerzyny i Pucka, a nawet na dalekiej Warmii wyrastają mocą jakiejś niewidzialnej siły świeże źdźbła i przebijają się przez twardą skorupę na światło dzienne. Jak pod wpływem promieni słonecznych nikną lody i topnieją śniegi, tak pod urokiem nowej idei, ucieleśnionej w „ojczyźnie“, pierzcha mróz, który przez wieki ziębił serca ludu — olbrzyma.

Słowem, trzechmilionowy Goliat, niegdyś za „martwą bryłę“ uważany, albo się jeszcze przeobraża, albo się już przeobraził i stał się potężnym czynnikiem w narodowym organiźmie, do którego należy. To są skutki niwelacyjnego nacisku. Że zaś wicher kulturny, którego ojcem był Bismarck, dał impuls do tego narodowego odrodzenia naszego ludu, przeto Bismarck stał się odnośnie do Polaków bezwiednem narzędziem i propagatorem tej samej idei, która w roku 1870 i 71 oddała Prusom przodownictwo w Niemczech, a w imię której 12 lat przedtem Napoleon III stworzył jedność Włoch.

...Duch narodowy schodzi z wyżyn społecznych, gdzie przez wieki wyłącznie nieomal miał przytułek, do warstw niższych i najniższych i wszystkie członki narodowego ciała przenika i ogrzewa dzisiaj swem ciepłem. Święty ogień Żnicza, który dotychczas gorzał na ołtarzu serc jednej jedynej klasy społecznej, uważającej się pod pewnym względem niejako za naturalnego, urodzonego i uprzywilejowanego stróża tegoż skarbu, stał się własnością ogółu, poszukał sobie czcicieli liczniejszych, obrał sobie cały naród za stróża, opiekuna i piastuna“.

„Katolik“ donosi w Nr. 68:

„Przeciw Polakom na G. Szlązku rozpoczęli niemieccy i zniemczeni germanizatorzy walkę przez to, że 5go Czerwca założyli we Wrocławiu związek antypolski czyli ten sam, jaki już od Listopada przeszłego roku w Poznańskiem i Prusach Zachodnich istnieje i z Polakami walczy na zabój. Przewodniczący związku, pozasłużbowy major Tiedemann, prawił o wojnie, jaką także z Polakami górnoszlązkimi zacząć należy. Nie będzie to tak trudna rzeczą, jak w Poznańskiem, bo tam arcybiskup jest Polakiem, księża, szlachta Polakami, również silny stan średni i mieszczański jest polski. Na G. Szlązku zaś — tak mówił p. Tiedemann, — książę biskup jest Niemcem, większość duchowieństwa ma niemieckiego ducha, i nie brak w ogóle ludzi dla niemczyzny dobrze usposobionych. Chodzi o to, aby zapobiedz dalszemu szerzeniu się polskiej agitacyi. Niebezpieczeństwo tej agitacyi nie jest jeszcze zbyt wielkie, lecz trzeba się mieć na baczności. Związek antypolski jest parytetyczny, to znaczy, że i niemieccy katolicy mogą do niego przystąpić. Związek ich szanuje i gotów jest bronić przed krzywdą i szkodą. Drugi przewodniczący Hansemann przeczytał list p. inspektora Lücka z Chropaczowa.

Radzi on, ażeby urzędnicy, kupcy, szynkarze, rzemieślnicy niemieccy rozmawiali z polskim robotnikiem,

---

być inaczej. Nigdy nie był z nią sam, nigdy też z nią nie rozmawiał, a często zapominał nawet o jej obecności. Była tak nieśmiała, że zdawała wprost bać się czegoś, gdy pozostali przypadkiem sami. A dla czego właściwie? Nie wiedział, lecz nie mogło być wątpliwości co do tego.

Często, przychodząc przed południem, gdy pukał do drzwi, mógł słyszeć lekki szelest sukni, następnie szybkie otwieranie i zamykanie drzwi do pokoju sąsiedniego, a gdy po chwili wchodził, nie zastawał już nikogo w pokoju. Woń perfum delikatna, unosząca się w powietrzu, jedynym była śladem jej obecności w pokoju. Wieczorem, gdy ojciec był w domu, nie wypadało jej jako gospodyni domu usuwać się, lecz i wtedy musiał Bergström poprzestać na małem. Na pytania jego odpowiadała krótko i tylko to, co musiała, zupełnie nie zwracając uwagi na jego chęć zbliżenia się do niej; potem zaś, gdy po kolacyi ojciec z gościem gawędkę rozpoczynał, siadała w kącie pokoju na kanapie, gdzie przy świetle lampy z zajęciem czytała, lub też, trzymając książkę, udawała, że czyta.

Gniewało go to, że w żaden sposób jej poznać nie może; a gdy czasem przed ojcem żartobliwie się uskarżał, także niewiele się dowiadywał.

— Nie znam jej lepiej od pana, — przyznawał się z szczerością, która Bergströma początkowo dziwiła, lecz którą potem rozumiał. Od niedawna przebywał z nimi, lecz mógł już zauważyć niechęć ich wzajemną.

W córce była niechęć owa tak stanowczą, tak zakorzenioną, że musiała mieć przyczyny bardzo już dawne, a jemu nieznane; była to niechęć, która przy wielkiej różnicy ich usposobień nietylko w zobojętnienie przejść mogła. Gdy czasem ojciec zwracał się do niej z czemkolwiek, co zresztą nieczęsto się zdarzało, czynił to zawsze z pewnym odcieniem nieukrywanego rozdrażnienia, — w jej zaś milczeniu lub chwilowem przelotnem spojrzeniu malowała się niemal pogarda.

— Ona miewa swe chimery jak wszystkie kobiety, — objaśniał doktór. Nic więcej nie mówił.

— Zatem to też muszą być chimery, — pocieszał się Bergström, — że mnie stale unika, lecz to chyba przejdzie prędko.

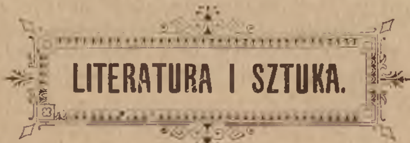
Tymczasem zaszło coś, co stosunki tej rodziny nieco wyświetliło.

Przed kilku laty przychodził często do domu ich pewien młody człowiek, asesor Nörgaard, daleki krewny żony dr. Pauli. Nieboszczka lubiła go bardzo, a nawet chętnie widziała w nim swego zięcia przyszłego. Był to wysoki, chudy młodzieniec o jasnych gęstych włosach; twarz jego bez zarostu, podłużna, koścista, miała wyraz surowy i zarozumiały zarazem; bystry, niemiły wzrok jego zakrywały okulary. Gdy się uśmiechał, wykrzywiała się twarz jego w tak wstrętny grymas, że ludzi odstręczała w pierwszej zaraz chwili. Lecz on, wiedząc o tem, wolał się nie śmiać nigdy; w ogóle był świadom swej powierzchowności i dla tego też zrezygnował na zawsze z wszelkich sukcesów salonowych... Był niezgrabny w obejściu, sztywny, a głos miał nieprzyjemny, monotonny. Nie miał zwyczaju zabawiać się gawędką, mówił tylko, by go słuchano; każde zdanie jego było jakby kazaniem. Chciał koniecznie ludziom imponować, by ich następnie pokonać, a w tym celu używał środków wszelkich, jakie tylko w jego były mocy. Posiadał on wiele wytrwałości i bardzo też wiele w młodszych latach pracował. Będąc jeszcze bardzo młodym, zwrócił na siebie uwagę świata uczonego pracą swą p. t. „O błędach ortograficznych u pisarzy Wieku Złotego“. Przepowiadano mu też świetną przyszłość jako estetykowi — a widoki na przyszłość polepszyły się od czasu, kiedy występować począł jako gorliwy agitator i obrońca zasad panujących“ tak w polityce, jak w moralności i religii. Przyznać mu jednak musieli wszyscy, nie wyłączając i najzagorzalszych przeciwników, że owe „zasady panujące“ raczej temperamentowi jego, nie zaś jakiemuś wyrachowaniu przypisać należało.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

rolnikiem po niemiecku. Teraz niektórzy Niemcy mówią po polsku. Inny germanizator p. Schlabitz opowiadał, że polszczyzna coraz więcej niemczyznę na G. Szląsku wypiera. Inny znów mówił o tem, aby gazetę założyć, co też i p. Lück polecał. W ogóle na każdy sposób niemczyznę szerzyć, polszczyznę tępić, bo Polacy mają być tylko polskimi Prusakami, a niczem więcej. Burmistrz Engel z Prudnika powiedział, że na G Szląsku nie ma zgoła wielkopolskiej agitacyi między ludem, lecz trzeba czuwać, aby się między lud nie dostała. Następnie odezwał się poseł Segeth, ów „sławny Polak z Lubomi“ i znowu zaczął „siać pietruszkę“ a „rzepa mu się pewnie urodzi“. Powiedział on, że byłoby dobrze, gdyby dla młodzieży zaprowadzić niemieckie kazania popołudniowe w kościołach, a sołtysom i ławnikom nakazać, aby w urzędzie tylko niemieckiej mowy używali. Potem wybrano wydział z 60 ludzi dla Szląska, a do zarządu wydziału- pp. księcia Krystyana Kraft Hohenlohe, hr. Limburg-Stirum, radzcę Dahna, posła Segetha, inspektora Lücka, burmistrza Engla, hr. Gwidona Henckla Donnersmacka z Najdeku i p. Tiele-Winklera. Rozmawiano też o Morawianach i Czechach na Szląsku. Przeciw tym Słowianom związek antypolski także ma walczyć.

Rozpocznie się zatem na naszym G Szląsku walka Niemców z Polakami, jakiej jeszcze dotąd nie było. Nie możemy sobie tej walki lekceważyć, bo nieprzyjaciel silny: lecz nie potrzebujemy jej się nadto lękać, bo Bóg z nami był dotąd, i prosić Go będziemy, aby był nadal, — a przytem myśmy już zahartowani na uciski rozmaite losu i wrogów. Będziemy się bronili!“



„WISŁA.“

Kiedy w Warszawie zaczęła wychodzić „Wisła“, obudziła ogólne zainteresowanie: podawano treść jej numerów, streszczano ważniejsze prace, przedrukowywano jej kwestyonaryusze. Ale z biegiem czasu tak dalece o niej zapomniano, że obecnie z rzadka można napotkać chyba tylko wzmiankę o wyjściu numeru. Wydawnictwo to jednak nie zasługuje na taką obojętność. Poświęciwszy się studyom nad swojskim folklorem, spełnia ono swoje zadanie z rzadką gorliwością, a znalazłszy się pod umiejętnem kierownictwem p. J. Karłowicza, bezwarunkowo należy dzisiaj do najlepszych czasopism specyalnych w zakresie ludoznawstwa. Mówimy to z całą pewnością, bo niejednokrotnie mieliśmy sposobność porównywania „Wisły“ z odpowiedniemi wydawnictwami zagranicznemi.

„Wisła“ obecnie rozpoczęła dziewiąty rok swego istnienia. W rocznikach, które się ukazały, znajdujemy nietylko zbiór surowego materyału. Studya nad obyczajami i pojęciami naszego ludu odznaczały się dawniej brakiem pierwiastku krytycznego: więcej tam było dobrych chęci, aniżeli odpowiedniego przygotowania, raczej szło o cele artystyczne, niż o naukowe. O systematycznem badaniu nie było mowy i nawet być nie mogło. Nie chcemy zmniejszać zasług zmarłego Oskara Kolberga, które niewątpliwie są bardzo wielkie; ale swoją drogą był on tylko namiętnym amatorem-ludoznawcą, który, gromadząc ziarnko do ziarnka, zbierał dorywczo rzeczy bardzo cenne. Dopiero „Wisła“ zwiastuje w naszym folklorze zwrot pod względem gromadzenia materyału. Zwłaszcza dużo uczyniła w tym kierunku, wprowadzając już w pierwszych rocznikach stałą rubrykę „poszukiwań“, w których zamiast niesystematycznego błąkania się, jęła podsuwać kwestye jedną po drugiej i drukować wyczerpujące a systematycznie ułożone kwestyonaryusze. Zwracała ona w nich tem samem uwagę folklorystów na pewną stronę zwyczajów ludowych i niekiedy skutkiem tego gromadziła obfity materyał. Tak np. stało się z tak zwanem „mętowaniem“ używanem przez dziatwę (zwroty: „en, en, enta nos — wi, wi gęba nos“, powtarzane, ażeby wskazać kto ma pierwszy być „zającem“ lub iść „do kąta“).

A. Więckowski wykazał, że owe niezrozumiałe i cudackie wyrazy: en, enta, wi i inne, są niczem innem, jeno popsutem liczeniem w praaryjskiej mowie, które przetrwało w ciągu wieków, naturalnie przeinaczając się w rozmaity sposób. „Wisła“ więc przystąpiła do zbierania mętowań i nagromadziła olbrzymi materyał, oczekujący teraz na kogoś, ktoby go usystematyzował i uogólnił.

A Zakrzewski znowu zwrócił uwagę na istniejące w kraju różnice, rzekłbym plemienne, gdyby ten wyraz nie był za silny.

Znajdują się takie grupy, jak Kurpie, Mazurzy, Kujawiacy, Krakowiacy, odróżniające się swoją wymową, strojem nawet temperamentem. Poruszył więc on kwestyę wyznaczenia granic pomiędzy temi odłamami narodu. Rozpoczęto w ten sposób badania nad naszem terytoryum etnograficznem, później nad geograficznem rozmieszczeniem pochylonego *a* w wymowie ludu, nad rodowodem nazw, pod jakiemi słyną pojedyńcze grupy ludu. W związku z temi badaniami znajdują się studya nad budową swojskiej chaty i jej rozmieszczeniem. Jak wiadomo, w Niemczech każdy lud (Sasi, Szwabi, Bawarczycy), wniósł do struktury chaty inne zasady i dzisiaj badacz, notując geograficzne rozmieszczenie tego lub owego stylu domostwa wiejskiego, zaznacza wędrówki pojedyńczych szczepów niemieckich. Podobną kwestyę wszczał u nas p. Karłowicz, a poszukiwania niebawem objęły nietylko nasz lud, lecz równie sąsiednie terytorya słowiańskie: Łużyczan, Morawian. Podobnie od paru lat stale, spotykamy w „Wiśle“ poszukiwania nad zwyczajem sobótki w naszym kraju i sposobami niecenia ognia, nad tak zwanemi „kulami“ (wici ludowe) i pismem obrazowem, nad medycyną ludową i wielu innemi kwestyami. Jednocześnie znajdujemy w rozpatrywanej rubryce kwestyonaryusze. Ułożono wyczerpujący kwestyonaryusz dla zbierania poglądów i zwyczajów prawnych naszego ludu, przesądów związanych z pamięcią o zmarłych, w sprawie żydowskiej (Aleksandra Świętochowskiego) i czytelnictwa ludowego.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad rubryką poszukiwań, gdyż uważamy ją za najważniejszą w „Wiśle“. Przy jej pomocy poznajemy różne strony zwyczajów naszego ludu w sposób wyczerpujący. Jednak w samym numerze częśta jest odsunięta na plan dalszy, gdyż drobne choć liczne notatki nie mogą stanowić właściwej treści pisma. Główny plan zajmują większe rozprawy. Niekiedy są to rzeczy tłómaczone, z któremi należało zapoznać naszych czytelników. Między innemi przełożono pracę Achelis'a o rozwoju etnografii nowożytnej, piękną książkę Toeppen'a o wierzeniach Mazurów pruskich itp.

Ale przedewszystkiem musimy uwzględnić prace oryginalne.

J. Karłowicz przedsiębrał próbę usystematyzowania naszych pieśni ludowych. Idzie o t. zw. ballady. Studya folklorystyczne wykazały, że wątek każdej ballady jest rozpowszechniony na olbrzymiej przestrzeni: istnieje on wśród różnych ludów, niekiedy zaś nawet na rozmaitych lądach globu ziemskiego. Poniekąd wypływa to z przyczyny, że jakiś wątek, powstawszy w pewnej okolicy wędruje z miejsca na miejsce, pochłania pokrewne opowieści, niekiedy przeistacza się, ale bądź co bądź, zachowuje rdzeń pierwotny. Taką np. jest opowieść o Madeju. Niekiedy trzeba przyjąć inny rodowód: ten sam wątek powstaje niezależnie w różnych okolicach, względnie u różnych ludów, poeta ludowy dowiaduje się o pewnem zdarzeniu, np. zabójstwie męża przez żonę, i pod tem wrażeniem układa swój utwór.

A ponieważ warunki życia włościańskiego są wszędzie pokrewne, przeto wszędzie też ballada taka ma podobne rysy, jak gdyby powstała w jednem miejscu i później rozszerzyła się dalej. Pracę podobną, charakteru ogólno-porównawczego, podjął Child. J. Karłowicz zaczerpnąwszy z niej wątku, zgromadził wszystkie warianty jakie istnieją u naszego ludu i porównał jedne z drugiemi. Szkoda, że poprzestał na kilku balladach i nie prowadzi dalej swojej

Z dziennika wykolejonej.

I.

„*Dans l'état actuel de l'esprit humain une trop riche nature est un supplice*“ powiada Renan. I słusznie: w wieku specyalistów, gorączkowej pogoni za chlebem, czy karjerą, w okresie wyjałowienia myśli i uczucia wielostronność natury, jej głębia i bogactwo, to coś jak olbrzymi apetyt atlety-biedaka, który zawsze głodny odchodzić musi od skromnego stołu.

Nie wiem, czy mówiąc o bogactwie natury indywidualnej Renan miał na myśli i kobietę. A jednak ją przedewszystkiem na uwadze mieć by tu trzeba, bo tu najbogatsza jest bezwarunkowo najgodniejszą pożałowania. Jeżeli natura kobieca rozwinie się harmonijnie i prawidłowo, jeżeli każda z jej właściwości przystosować się potrafi do otoczenia i rozlewać słodkie i ciepłe życie naokoło siebie, nie zanadto wybujałe, nie rażące nikogo, nie zadające ran ani bolu sobie ani drugim, to kobieta taka prawdziwem jest dla bliźniego, a często i dość szerokiego koła, błogosławieństwem. Nie potrzeba jej specyalnej wiedzy ani talentów, wielkiej urody ani bogactwa, bo ona i bez tego w jakiemkolwiek się znajdzie położeniu uszczęśliwiać potrafi drugich i siebie, w żadnej sferze nie będzie jej za ciasno, aby tylko znalazła współczujące serca, — ona potrafi być tym kitem, który ostre kanty wypełni i otoczenie dokoła zgrupuje. Nie jest to już kobieta powszednia, ale w każdym razie miękki, łagodny promień światła, które nie pali i nie razi, i przy którem najlepiej rozwijać się może życie dnia codziennego.

Niech jednak natura da jej talent jakiś, umysł zbyt lotny, energią, która pożąda czynu po za zakresem codziennego życia, wreszcie nadmiar uczucia, które oddźwięku znaleść nie może u otaczającego ją świata, a owa harmonja zostanie już naruszoną. Każda z takich właściwości postawi ją w kolizyi z panującą opinią, rodziną, otoczeniem, każda wytworzy walkę i niezadowolenie, której ostateczny wynik zawsze niepewny.

Czy dla tego, że górująca nad inne zdolność, czy właściwość wytwarza już ową zbyt bogatą dla dzisiajszego świata naturę? Nie. Dla mężczyzny byłaby ona właśnie osnową do lepszego powodzenia w życiu, dałaby mu punkt oparcia, główny motyw dla osnucia celów i planów życiowych, wyniosłaby go po nad innych, a jakkolwiek każda burza najmniej oszczędza najwyższe drzewa, to przecież i każdy promień słońca najpierw je oświeca i każde oko z największem zadowoleniem na nich spoczywa.

Taka górująca właściwość u kobiety to po prostu dar natury, z którym społeczeństwo nie wie jeszcze co począć, do którego tak mało przywykło, iż psuje mu ona porządek, zamiast użyteczną wydaje się być potworną. Nie znajdując pomocy, poparcia, wskazówek kobieta wśród, czy często napróżno i tylko dzięki wielkim staraniom udaje się jej niekiedy cel osięgnąć. Z takim wydatkiem energii, jaki mężczyźnie wystarczyłby już do wykonania dzieła w zakresie swego talentu, czy upodobania, kobiecie udaje się zaledwie zdobyć właściwe doń przygotowanie. Pomimo to mierzą ją i porównywają z mężkim współzawodnikiem i jeżeli porównania tego nie wytrzyma głoszą jej przyrodzoną niższość. Przypuśćmy jednak, że walkę przetrwała, że jest talentem wybitnym lub dzielnym specyalistą, czy to dziwne, że w tem dążeniu zatraciła niejedną z właściwości płci swojej, że brak jej owego subtelnego uczucia, kobiecej przenikliwości, że nie umie już kierować się instynktem, że zbyt dosłownie i bezwzględnie stosuje w życiu teorye, nadto surowo sądzi świat męzki, że pesymistycznie odnosi się do ludzi w ogóle, że czuje się nieszczęśliwą właśnie wtedy, gdy cel swój osiągnęła?...

A teraz zwróćmy się do owych natur, dla których życie jest torturą, — bo są zbyt bogate, a los skąpy, ludzie zawistni, a nawet własny ich organizm, nie znoszą nadmiaru myśli, pragnień, uczuć i fantazyi. Czy można je scharakteryzować w ogólnych rysach, czy istnieją wogóle ramy, w które wtłoczyć by się dała indywidualność podobna? Typów tu nie ma, są jednostki; czy nie będzie najlepiej z zarozumiałością opisać jedną z nich,

pracy, która stanowi u nas pierwszą naukową próbę usystematyzowania naszych pieśni.

Zasługują równie na bliższą znajomość prace dr. Wł. Olechnowicza, dotyczące antropologicznych cech ludności w gubernii lubelskiej. Zwłaszcza ciekawem jest jego studyum porównawcze nad szlachtą i ludem. „Prawie od zarania dziejów naszych, jako państwa, wytworzyła się klasa inteligencyi, powiada autor. Już z badań historycznych wypada wielkie prawdopodobieństwo, że obie te warstwy od lat tysiąca blizko żyją w odmiennych warunkach i pod względem fizycznym i pod względem umysłowym. Autor na mocy swych poszukiwań wywnioskował, że istniejące między ludem a szlachtą różnice wypływają tylko z bardziej rozwiniętego mózgu, i że innych, zasadniczych nie ma. Zresztą rozmiary materyału, z jakiego użytkował on, są zbyt szczupłe, ażeby można mówić o stanowczych wnioskach w tej mierze.

Niepodobna nam rozwodzić się nad całością prac, nagrodzonych w „Wiśle", bo to zaprowadziłoby nas za daleko, poprzestaniemy więc jeszcze na wzmiance o pracach dr. Nadmorskiego i S. Ciszewskiego i o systematycznych kronikach geograficznych W. Nałkowskiego.

Dzięki pracom, umieszczonym w rocznikach akademii umiejętności, niepospolitym zasługom O. Kolberga i materyałowi zebranemu przez „Wisłę", społeczeństwo nasze posiada nadzwyczaj bogaty zasób faktów. Zużytkowany odpowiednio, rzuciłby on ciekawe światło na naszą kulturę pierwotną. Już Kaczkowski w swojem studyum o kobiecie usiłował na podstawie zwyczajów, obecnie wśród ludu istniejących, zwłaszcza zaś obrzędów weselnych, skreślić niektóre rysy naszej fizyognomii obyczajów w chwili przyjęcia chrześcijaństwa. Cofnął się jednak z powodu braku materyałów. Dzisiaj jesteśmy w szczęśliwszem położeniu. Możemy z wielkiem prawdopodobieństwem oznaczyć strukturę chaty dalekiego naszego przodka a nawet budowę wsi całej. Wiemy w jaki sposób były zwoływane wiece wiejskie i nawet drobiazgowo zdołamy opisać tryb uwiadamiania sąsiadów, obrządki weselne, chrzciny i pogrzeby. Mamy wyobrażenie o jego filozofii i mitologii, obyczajach prawnych i uroczystościach, w szczegółach dokładniejszych niż dać nam je mogą pisane dokumenta, datujące się z wcześniejszych czasów naszego życia kulturnego.

Nowele Sewera.

(Dokończenie.)

Urok, jaki wywierają powieści ludowe Sewera, polega w znacznej mierze i na pozornym braku tendencyi. Powieściopisarze nasi, opisujący życie ludu, stawiają sobie zazwyczaj z góry pewną tezę, której pragną dowieść. Fałszywie pojęta demokracya ma tu najczęściej zastosowanie. Powieściopisarzowi nie idzie o wierną charakterystykę sfery, którą wziął za przedmiot swojej opowieści, ale o przekonanie czytelnika, iż ujemne strony są wypływem smutnej tradycyi pańszczyzny i uważania chłopa za bydło pociągowe; nieufność do surduta, wszelkie złe instynkta, opilstwo, złodziejstwo, nieposzanowanie praw moralnych, mają tu mieć swoje źródło. Inni idealizują chłopa w przeciwstawieniu do tych wszystkich, co posiadają inteligencyę lub majątek; chłop jest uczciwy, dobry, a wyzyskiwany dla tego, że jego prosta etyka i świeżość uczuć dadzą się wyzyskiwać sprytniejszym i nieprzebierającym w środkach, aby dojść do upragnionego celu. Inni wreszcie wmawiają słusznie w chłopa obce mu dążności i poglądy. Ze zwykłego i łatwo zrozumianego przywiązania do ziemi, jako podstawy bytu materyalnego, wysnuwają bardzo piękne i mile łechcące teorye o rzekomem istnieniu wśród *ogółu* ludu szerszych pojęć obywatelskich. Dla tego też z góry postawiona tezą zmusza ich do naginania prawdy, do dźwigania tkanki ze sztucznie wydobytych i powiązanych ze sobą przestanek, dla tego też kiedy jedni wpadają w krańcowy pesymizm, to obrazy innych oślepiają oczy rażącemi blaskami skrajnego optymizmu. Sewer ustrzegł się od tego rodzaju tendencyjności, ztąd prawda tryska z jego powieści, prawda nieco wyidealizowana, boć powieść nie jest sprawozdaniem dziennikarskiem, ani protokółem urzędowym. Bierze, co rzeczywistość mu dała, czem obserwacya zbogaciła jego notaty, ale fantazyi nie zaprzecza prawa do istnienia. Tylko fantazya ta nie unosi go za daleko, nie ściera piętna rzeczywistości z malowanych obrazów. A jednak pomimo, że Sewer zdaje się czuć wyłącznie artystą, kto umie bacznie spoglądać, ten ujrzy i tendencyą na dnie jego utworów. Jest nią dążenie do takiego przedstawienia sfery wieśniaczej, aby realizm nie zasłaniał poezyi, przechowującej się w sercach i umysłach „najmłodszej braci", aby prawda z poezyą torowały razem drogę do poznania, zrozumienia i ukochania tej siły, co na pozór spoczywa jeszcze drzemiąca, ale już budzi się do czynu, domaga się lękliwie wprawdzie i powoli, ale coraz częściej przypuszczenia do udziału w pracy społecznej. Sewer nie uczy fałszywych sentymentów, ale zwraca uwagę na właściwości, wady i zalety „maluczkich duchem" jakby wskazywał i mówił: oto jest czarnoziem zdatny pod uprawę, oto są kamienie, które należy z niego wybrać, oto chwasty, które trzeba wyplenić...

Szkoda, że nie znalazł się dotychczas wydawca, coby zebrał razem wszystkie powieści ludowe Sewera. Chcąc poznać je w całości, trzeba przerzucać czasopisma, lub szukać ich po tomowych tu i owdzie wydawanych zbiorach jego nowel. Pocieszać się należy, że w ostatnich dniach zrobiono krok pierwszy ku poprawie, wydając w jednym tomie trzy powieści z tego działa twórczości Sewera. Oprócz obrazka „Zalotnica", nadającego nazwę zbiorowi, są w nim nowele „Zosia Żórawianka" i „Łusia Burlak".

Właściwie „Zosia Żórawianka" należy tylko w połowie, a nawet mniej niż w połowie do powieści ludowych. Bohaterką jej jest wprawdzie dziewczę z ludu, ale treścią opowiadania są romansowe przygody panicza-poety. Zosia, córka wiejskiego bogacza, która „na pańskie nigdy nie przychodzi", wpadła w oko panu Stanisławowi i została jego narzeczoną. Przed laty trzydziestu lub czterdziestu każdy, a i dziś co drugi przynajmniej powieściopisarz, ulegając wówczas modzie, a dziś przyzwyczajeniu, połączyłby tę parę węzłem małżeńskim, albo też powtórzyłby tyle razy odgrzewaną historyą nieszczęśliwej „Halki". Sewer przepłynął jednak szczęśliwie między Scyllą ołtarza a Chabrydą dramatu. Dziewczę im bliżej poznaje swego narzeczonego, tem więcej się go obawia. „Ja się boję twoich ojców, — mówi — wielkie to państwo... czemużeś ty nie sierota!..." Przyłącza się i druga bojaźń. Zosia czuje, że nie dorasta do pojęć swego ukochanego, instynktowo rozumie, że ma on ideały, które dla niej zawsze pozostaną obce. Po dłuższej nieobecności Stanisława słucha spokojnie jego tłomaczenia się i mówi bez cienia wyrzutu: „wy panowie, zaczytani w księgach, mało macie czasu!" Martwią Zosię i gadaniny sąsiadek. Tak pomału staje pomiędzy kochankiem przedział sfer i wyobrażeń, a wreszcie staje i młody leśniczy, on tak samo jak panicz kocha Zósię, tylko przedstawia dla niej więcej warunków szczęścia, bo on nie będzie jej dla ksiąg opuszczał, nie ma dumnej matki „senatorowej", nie daje gwarancyi „rocznej" lub „dwuletniej", lecz na całe życie. Zosia chwieje się i popełnia zdradę z bojaźni, ale ta zdrada z pod pióra Sewera wychodzi tak naiwna, szczera, serdeczna, tak

---

niej znaną najbliższą, najnieszczęśliwszą, a więc siebie?.. Postawię wprawdzie siebie w kategoryi najlepszych, ale już nagłówek wskazuje, że nie roszczę pretensyi bym owe hojne dary zużytkować potrafiła, może ta trzeźwość oceny przebaczyć mi każe stanowisko zajęte...

Gorący temperament i bardzo trzeźwa, chłodna głowa — to wieczna możność popełniania szaleństw i ostrej krytyki samego siebie, która jest najsurowszą za te szaleństwa karą. Głębokie, aż do namiętnych porywów dochodzące uczucie i — duma, która jego przejawy krępuje, którą każdy chłodniejszy powiew z zewnątrz mrozi, a więc uczuciu każe się zamknąć w sobie, choćby pierś rozsadzić miało! Przepyszna kombinacya wymyślona jak się zdaje wprost dla unieszczęśliwienia człowieka. A jednak czuję ją w sobie, cierpię z jej łaski, z jej powodu narażam sobie ludzi i wydaję im się niekonsekwentną, a chwilami szaloną...

Przecież ta kobieta ma dużo woli i energii, powiadają, a pomimo to postępuje w życiu, jak gdyby każdy wiatr mógł ją ze sobą unieść. Może i prawda, wola jest, energia również, ale instynkt samozachowawczy nie jest dość potężny, aby uchronił przed reagowaniem na wrażenia. A wrażenia te wytważają taki nadmiar energii, że ona do działania, do postanowień, do zapomnienia zupełnego o swojem ja pobudza.

W każdym jest pewna doza artyzmu, szczęśliwy komu natura nie odmówiła środków do ujawnienia go na zewnątrz, kto rozporządza poetycką formą, dźwiękiem, muzyką, pędzlem lub dłutem. W życiu pozostać on może trzeźwym, systematycznym, może w niem plan przeprowadzić. Ja przecież jestem artystką w życiu, a więc w odczuwaniu wrażeń w reagowaniu na nie. Potrafię artystycznie cierpieć aż do fizycznego bólu, łudzić się, cieszyć, aż w końcu trzeźwość bierze górę i ogromny wydatek uczucia i energii kończy się spazmem śmiechu, kurczowego śmiechu, który jednak przechodzi we wzruszenie ramion nad sobą i drugimi. A więc tylko chwila panuje nademną niepodzielnie. Tak, ale gdybyż ta jej władza trwała tylko przez chwilę!... Tymczasem pozostawia ona za sobą smugę pamięci, powraca falą wspomnień, wyrzutów, upokorzenia niekiedy, upokorzenia nad własną słabością, czy nieoględnością, które gryzie, nurtuje, wkręca się w mózg i dziobie go po kawałku.

I to się zowie bogata natura! Powiecie: A bodajby była uboższą, a miała nieco samozachowawczego zmysłu. Ochroniłby ją może od wybuchów i niekonsekwencyi życiowych, które przecież ubożyć muszą.

Otóż tu siebie wziąść muszę w obronę. Tego życiowego ołowiu, który jednostce przedewszystkiem każe w sobie samej, swej doli i niedoli widzieć punkt ciężkości świata, istotnie posiadam mało. To moja słabość — ale i siła.

Brak względów na zachowanie własnego ja trzeba drogo opłacić, doświadczenie każde dużo mnie kosztuje, tem drożej, że cała moja istota zawsze w niem bierze udział. Wybuchowi uczucia towarzyszy myśl uparta a niepoprawnie krytyczna, która jednocześnie przeprowadza próbę ogniową, a gdy się przekona, że to ogień słomiany, odwraca się odeń z pogardą, gdy zaś widzi, że ogień płonie uparcie, że grzeje i pali, pyta, czy przedmiot uczucia zasługuje na taki wydatek. Biada jeżeli odkryje, iż tak nie jest, — urągowisku nie ma już miary, a to boli, bardzo boli, gdyż sobie samemu oczów piaskiem zasypać nie można.

Gdy niepoprawna fantazya pocznie kreślić jaskrawe, a łudząco piękne obrazy, zjawia się gość nieproszony — sceptycyzm i z gorzką ironią zwiewa pałace z kart, zamiast argumentów wyciąga tam gdzieś z pyłu zapomnienia legiony wspomnień i doświadczeń minionych, które umie i innym wskazać, jakoby całą przelotność ich nadziei, nietrwałość zamków — na lodzie.

Poznanie do warsztatu swego wciąga i cały zapas uczucia i fantazyi, ale tu przynajmniej tej nierozłącznej spółki cierpieniem okupywać nie trzeba. Silne przejmowanie się wrażeniami umysłowemi daje zawsze żniwo obfitych i niezmąconych niczem rozkoszy. Bo przecież nie o cel tu chodzi, ale o drogę, o te pochłaniające istotę całą wrażenia, których doznawać może człowiek podzielający rezultaty my-

nierzucająca żadnej plamy na charakter dziewczki, że się jej tak przebacza, jak przebaczył panicz-kochanek. Znajduje on pocieszycielkę w Loli, która w czasie jego sielankowej miłości od Lamartina przeszła do Słowackiego i tą przemianą przykuła do siebie zdradzonego poetę. W noweli tej, pisanej w formie listów, walczą ze sobą dwa światy: prostoty i flirtu, zagrody i salonu; bawiący się świat warszawski znajdzie w niej wyborną charakterystykę.

I w „Zalotnicy“, która dała nazwę zbiorowi, młody panicz odgrywa wybitną rolę. Ale to nie poeta jak Stanisław, a więc cel jego marzeń znacznie realniejszy. W całej okolicy nie było takiej dziewuchy jak Maryna. Tęga, zdrowa, rosła, z chudej i nikłej „wybrała się bez zimę na kapuścia i ziemniakach“. Wyszczerzała zęby do ekonoma, patrzała śmiało na panicza, groziła fornalowi — bestya, bestya, nie dziewucha! Błażka sierotę, który „wisiał przy bracie“ najwięcej, bo „na zabój buntowała“. Raz przy wiązaniu snopków żniwiarki natrafiły na łożysko ostu, zmieszanego z pszenicą. Błażek powiedział, że „okrutnie lubi oset“ i „bez to“ za siebie i Marynę kręcił i wiązał powrósła. Ale Błażek był biedny i Maryna biedna, a więc od czego panicz? I rozpoczął się ze strony dziewuchy flirt na wielką skalę, którego rezultatem była dla Maryny śliczna jałowica, dla Błażka Maryna, a dla panicza — figa. Zapewne etyka Maryny nie zasługuje na pochwałę, ale spryt jej i przeprowadzenie całego „interesu“ nie rażą w opowiadaniu Sewera. Przebiegłość dziewczyny wydaje się naturalną, zalotność jej nie oburza lecz bawi; co więcej, uniewinnia ją poniekąd nieświadomość, nie czuje bowiem ona żadnych wyrzutów, cieszy się, że wypłatała figla paniczowi z korzyścią dla siebie i Błażka. Pod względem budowy i humoru „Zalotnica“ jest jednym z najlepszych obrazków Sewera. Sceny przy żniwie, na jarmarku, przy kupnie jałowicy, miłosnego przekomarzania się z Błażkiem i flirtu z paniczem są na wskroś pełne prawdy i rzeczywiście „malowane w słońcu“, jak je określił sam autor.

Ale najpiękniejszą w zbiorze „Łusia Burlak“. Widzimy dwunastoletnią dziewczynkę, niosąca, ojcu w pole dwojaki, próbującą grabić siano, wybuchającą szczerym śmiechem wśród zabawy z rówiennikami, z obmyślaną taktyką biorącą w niewolę osła, niechcącego zejść z pastwiska, wypędzającą krowy na drogę, zaprzęgającą do wozu klapoucha, biorącą bierny udział w nielegalnem otrząsaniu dworskiej jabłoni, karmiącą cielęta, gołębie i wszelką „gadzinę“ i t. d. Gdyby obrazek urwał się na tych świetnie podpatrzonych i z nieporównanym wdziękiem opisanych zajęciach młodej gosposi, jużby „Łusia Burlak“ zajęła zaszczytne miejsce w naszej beletrystyce. Ale minęło lat parę, a do wioski przybył nauczyciel. Podobała mu się dziewucha, uznał więc, że dobrzeby było się poświęcić dla dobra ludu i wziąć wrąz z nią siedm morgów gruntu, trzy krowy, osła, przyodziewek i korale „za dwasta“. Tylko mąż uczony potrzebował uczonej niewiasty, a więc oświadczywszy swe zamiary rodzicom, postanowił własnym kosztem wychować Łusię na pensyi klasztornej. Mamy więc szereg nowych obrazków: podróż koleją do Krakowa, życie koleżeńskie w klasztorze żeńskim, powrót Łusi do domu na wakacye. Z tym powrotem skończyły się nadzieje profesora. Łusia wstydzi się sukni miastowej, widzi, że ją uważają za obcą, zrzuca więc krępujące ją ubranie i trzewiki, odsyła profesorowi świadectwo i list pochwalny, i uśmiechnięta, promieniejaca, staje w szeregu do grabienia siana. Zamiast za profesorem biegnie myślą za Staszkiem i na odpuście w Kalwaryi wpisuje do księgi prośbę do Najświętszej Panny, aby Staszek rychło wrócił „i nie zalecał się do Zośki Gofronówny“. Portret Łusi jest doskonały, a że nie przesadzony, prosto z życia wzięty, za to ręczy sam autor, objaśniając, że nowela ta jest „na tle najprawdziwszych faktów osnuta“.

Wszystkie trzy nowele świadczą o głębokiem wniknięciu przez Sewera w dusze i serca wieśniacze. Złożyło się tak, że wszystkie są pogodne, wesołe, słoneczne, choć Sewer często i z odmiennej strony malował życie ludu. W „Zosi Żórawiance“ odzywa się wyjątkowo struna sarkazmu. Mogą się komu nie podobać, ale sumienny krytyk zgodzi się na słowa Sewera: „Niektórzy recenzenci i dziennikarze, którym szczodra fortuna odrzuciła podanie o koncesyą na sarkazm, odwołują się do powagi, do świętości uczuć, do nietykalności rzeczy, których się wszyscy dotykają, nie odwołują się tylko do dowcipu, będącego podstawą sarkazmu, bo go nie mają. Sarkazm jest formą tak dobrą, jak każda inna. Tylko w krajach świętoszków, kłamstwa, obłudy, egzaltacyi na zimno i łez krokodylich sarkazm jest uważany za trzeciego z rzędu brata lucypera, wtedy jadowite, ale ciche plotki stają się balsamem dla dusz zbolałych“ (str. 47).

Zbiorek poprzedza wyborna charakterystyka twórczości Sewera, pióra dr. Piotra Chmielowskiego.

Kazimierz Bartoszewicz.



Spór o Morskie Oko.

(Dr. Aleksander Czołowski. — Sprawa sporu granicznego przy Morskiem Oku 1894.)

Główny łańcuch Wysokich Tatr, tworzący od wieków granicę między królestwem Węgierskiem i krajami, składającemi obecną Galicyę austryacką — przedstawia łuk, zwrócony wklęsłością na północ a wypukłością na południe ku Węgrom. W kierunku promieni łuku wychodzą z głównego łańcucha, jakby żebra, liczne odnogi podzielone głębokiemi dolinami; jedną z takich odnóg po stronie wschodniej Tatr, jest pasmo Żabie, które od szczytów głównego łańcucha, zwanych Rysami, wybiega ku północy na odległość pięciu kilometrów; grzbiet tej odnogi oddziela od siebie dwie doliny na wschód i zachód; w każdej z tych dolin jak w ogóle we wszystkich tatrzańskich, znajdujemy znaczne zbiorniki wody, tworzące większe lub mniejsze jeziora. Najpiękniejsze i największe z tych jezior leżą w dolinie po stronie zachodniej Żabiego pasma; jest ich tu dwa: mniejsze, położone w amfiteatralnem zagłębieniu w rogu między Żabiem, Rysami i ich dalszem ku zachodowi przedłużeniem, czyli tak zwanemi turniami Mięguszowieckiemi, zowie się Czarny Staw, drugie o 190 metrów niżej, z pierwszem połączone po granitowych złomach biegnącym odpływem, nazywają Rybie Jezioro, lub też jeszcze Morskiem Okiem i pod tą nazwą znane jest powszechnie w naszym kraju, wbrew temu, iż na Spiżu (u Niemców) i na Węgrzech, nazwa ta nadawaną jest Czarnemu Stawowi.

Kształt Morskiego Oka przedstawia owal podłużny, w środku przeciągnięty, od południa zaś nieco spłaszczony, o powierzchni 33 hekt.; obwód jego wynosi 2000 metrów a głębokość 49.5 metrów; leży na pograniczu kosodrzewiny 1404.2 metrów nad powierzchnią morza. Od południowej strony jeziora dziko spiętrzone Mięguszowskie turnie, stromemi spadając ścianami, podstawą swoją dotykają wód Morskiego Oka. Wśród nich ku zachodowi, odosobniona nieco sterczy skała, w wyobrażeniu ludu mająca przedstawiać mnicha, ztąd Mnichem zwana. Od wschodu jeziora wspomniane pasmo Żabie o nagim, ostro poszarpanym grzbiecie, utworzyło olbrzymi wał; stok jego zrazu stromem, następnie łagodnem stacza się zboczeniem ku brzegom Rybiego i przedstawia słabą roślinnością pokrytą pochyłość, która ku północy rozszerza się cokolwiek i tworzy płaszczyznę doliny, porosłą rzadkim świerkowym lasem i kosodrzewiną. Równolegle prawie do pasma Żabie, objęło zachodni brzeg jeziora podobne mu drugie pasmo, mniej wszakże dzikie i więcej pokryte zielonością. Wybiega ono również z głównego łańcucha Tatr i nosi nazwy: Miedziane, Ubocz, Opalony, Czuba i dzieli dolinę Rybiego od doliny Pięciu Stawów, leżącej dalej na zachód. Bok północny Morskiego Oka zamyka do dwudziestu metrów wysoka skalista tama, przez środek której utorowało sobie jezioro odpływ znaczny, tworzący strumień zwany potokiem od Rybiego lub z Morskiego Oka i przerzynający dolinę między obu pasmami a o trzy i pół kilometra na północ u stóp najdalszej kończyny Żabiego pasma, łączący się z drugim strumieniem, zw. Biała Woda, płynącym od strony Spiża. Z połączenia się obu tych strumieni powstaje rzeka, która według twierdzenia miejscowego ludu polskiego, od tego dopiero punktu, zwie się Białką. Przeciwnie, strona węgierska utrzymuje, że rzeka ta (Białka) wypływa z obu jezior Czarnego i Rybiego, zatem nie ma żadnego potoku od Rybiego, a jest tylko wprost rzeka Białka. Na tę okoliczność, na tę różnicę w stosowaniu nazw przez polską i węgierską stronę, trzeba pilną zwrócić uwagę, gdyż w niej tkwi niemal cała kwestya wyjaśnień granicznych z punktu topograficznego. Przyjąwszy bowiem potok wypływającego z Morskiego Oka (Rybiego) za Białkę, uważa go strona węgierska za przedłużenie granicy między Węgrami a Galicyą, idącej tą rzeką przez oba jeziora po Rysy i to wszystko co leży po za strumieniem, uznaje za węgierskie.

Tymczasem biorąc pod uwagę warunki hydrograficzne na miejscu, trudno się zgodzić na to, aby potok od Rybiego uważać za Białkę. Potok od Rybiego wpada do Białej Wody pod kątem prostym, z góry, po złomach skalnych, co sprzeciwia się uważaniu go za macierzyste źródło Białki. Natomiast Biała Woda, płynąca od Spiża, słusznie może uchodzić za takie naturalne źródło Białki, która byłaby tylko jej przedłużeniem dalszem; przemawia jeszcze za tem ta okoliczność, iż Biała Woda jest obfitym i dwa razy większym, niż potok od Rybiego, strumieniem. Na tę okoliczność również należy pilną zwrócić baczność. Jeżeli cała dolina Morskiego Oka, dostępna tylko prawdziwie od strony galicyjskiej, opiera się nie o potok. wypływający z tego jeziora, bezpodstawnie Białką zwany, lecz o pasmo Żabie, które tworzy tu naturalną ścianę od wschodu — słusznie, żeby ono też tworzyło tu granicę. Takiej granicy, pociągniętej od miejsca, gdzie potok od Rybiego łączy się z Białą Wodą grzbietem Żabiego po Rysy, domaga się Galicya. Różnica obszaru (899 m. 301 st.) między temi liniami granicznemi, węgierską i polską, stanowi właśnie przedmiot sporu, który dziś stał się tak głośnym, niepokoi miejscową ludność a nawet wznieca zatarg między obu krajami koronnemi, należącemi do wspólnego berła Austryackiego

---

śli, fantazyi, uczucia jak się przejawiły w nauce, sztuce, literaturze. Chodzi o ten rozkoszny dreszcz, który towarzyszy wszelkiemu tworzeniu, o tę gorączkę, która dopiero odczuć pozwala całą pełnią i potęgę życia.

Kto zawsze się oszczędza, kto do życiowych doświadczeń wkłada tylko cząstkę własnej istoty, kto ma stale na myśli ostrożność i samozachowanie — ten żyć może bezprzecznie dłużej, wyglądać lepiej, ogień wewnętrzny go nie strawi, ilość pracy, którą wykona może być większą, ale rezultat jej nie będzie cząsteczką całego — człowieka.

Strona umysłowa okupuje więc poniekąd u mnie i natur mnie podobnych resztę, artysta w życiu może być wirtuozem w umysłowej pracy.

Gdybyż praca umysłowa wystarczyć mogła, gdyby równie prawie potężny prąd życiowych wrażeń na teorye mógł być przerobionym. Ba, wtedy sprzeczności nie przeszkadzałyby sobie wzajemnie, z chaosu wyłoniłaby się harmonia i to bogata, szumiąca już nie prostą piosenką, ale symfonią wspaniałą... Wtedy może nosiłabym wysoko głowę, nie byłabym wykolejoną. Ludzie staliby się dla mnie obojętni, a wraz z nimi ich zabiegi i uczucia, wreszcie stosunek ich do mnie.

Jaskółka.

———

domu. „Wysokie położenie — mówi p. Czołowski — niezwykle malowniczy górski krajobraz, rzadka gra kolorów zwierciadła wody — złożyły się razem, że jezioro to (Morskie Oko) słusznie otrzymało miano „perły gór Tatrzańskich“. Opisywane i opiewane niezliczone razy, otoczone rojem podań i baśni, stało się celem wycieczek turystów tatrzańskich, osobliwością kraju, własnością poniekąd całego narodu. Nie dziw przeto, że zakwestyonowanie jego wyłącznego posiadania dalekiem obiło się echem oburzenia i protestu, obudziło w najszerszych warstwach społeczeństwa galicyjskiego, gorące zainteresowanie się co do wyniku wszczętego sporu“.

Zkąd powstał ten spór szczególny? Zanim odpowiemy na to pytanie, pozwolimy sobie wraz z dr. Czołowskim, rzucić okiem na odwieczne stosunki pogranicza Galicyi z Węgrami, jest to bowiem rzecz mało znana a rzuca światło na sam początek zatargu, jaki zajmuje obecnie społeczeństwa dwóch sąsiednich a tak różnych i tak mało zespolonych z sobą krajów. O ile pamięć dziejowa wykazać jest zdolna, granice Węgier opierały się o lasy spiskie a więc o naturalną ścianę gór Tatrzańskich; najdawniejszy kronikarz węgierski, anonim pisarz Beli, powiada, że Arpad. pierwszy wódz Madziarów, po przybyciu w dolinę Dunajską, zawojował ją aż do lasów Zepus, syn zaś jego, Zulta, pradziad św. Stefana, „utwierdził granice królestwa Węgierskiego aż do gór Tatur“. Szczegół ten wskazuje, jaką była świadomość narodowa co do granicy w te zamierzchłe czasy, a chociaż wśród dziejowych wypadków oba narody niejednokrotnie mogły przekraczać tę linię, to jednakowoż stosunki zawsze wracały do dawniejszego stanu, gdyż w owe czasy natura kraju, jego położenie, wywierały wpływ daleko silniejszy na politykę. niśli to dziś ma miejsce. Oręż Bolesława Chrobrego zagarnął całe Tatry z dorzeczami, z dorzeczem Wagu od Cisy po Dunaj, ale ze śmiercią wojowniczego króla panowanie jego ustało i granica wróciła do dawnego stanu. Tak rzeczy stały do połowy XII wieku, w którym to czasie szczęście posłużyło Węgrom, udało im się bowiem wprawdzie nie za pośrednictwem oręża, ale pewniejszą drogą, bo podbojem kulturalnym, przerwać ciągłość granicy Tatrzańskiej i wedrzeć się na Spiż, który w całości należał do państwa z tej strony Karpat. Stało się to zaś przy pomocy kolonizacyi niemieckiej; już od jedenastego wieku osadnicy niemieccy zajmowali tę okolicę popierani gorliwie przez Madziarów, tak że przy Polsce pozostał tylko północno-wschodni róg Spiżu, zwany districtus Podoliensis a należący do powiatu sądeckiege. Była to jednak prawie bezludna okolica, przerznięta Białym i Czarnym Dunajcem i dopiero w początku XIII wieku liczniejsze powstają osady, między któremi Szaflary z zameczkiem, jedno z wybitniejszych zajmują stanowisk. Tym sposobem zbliżyły się do siebie stopniowo dwie kolonizacye, idące z dwóch stron, od Węgier i Polski a zetknięcie się wywoływało potrzebę ich rozgraniczenia, nieodczuwaną poprzednio wśród pustek i leśnych obrębów. Ale w tem miejscu brakowało właśnie tej granicy wybitnej. jaką na południu stanowiły najwyższe grzbiety Tatr a na północy Dunajec, niemniej jednak w przerwie między obu temi liniami przyroda utworzyła naturalny łącznik wskazujący czertę graniczną. Jest nim potok, powstający z górskich strumieni i biegnący do rzeki Dunajca a nazwany Białką. I rzeczywiście życie miejscowe z obu stron trzyma się mniej więcej tej linii, chociaż w ciągu biegu czasu to jeden, to drugi sąsiad usiłuje takową przekroczyć, nawet szczęśliwie przekracza. Tak około 1384 roku obwód Podoliniecki przeszedł do Węgier, lecz już w 1412 roku skutkiem zastawu przez Zygmunta, cesarza niemieckiego i króla węgierskiego, za 37,000 kóp groszy czeskich u Władysława Jagiełły, ziemie te przeszły w posiadanie tego ostatniego wraz z wieloma grodami, które przedtem należały do Węgier. Zastaw, nie wykupiony przez Zygmunta i jego następców, pozostał przy państwie z tej strony Karpat i utworzył osobne starostwo, pozostające przy niem aż do 1769 roku. Zastaw ten nie tworzył atoli jednej całości, ale cztery kompleksy, obejmujące szesnaście miast, z których trzy (Lubowla, Podoliniec, Gniazdo) uważano za zwrócone a trzynaście za zastawione; reszta zaś Spiża z miastem Keszmark, Lewoczą, wraz z jedenastoma mniejszemi pozostałemi przy Węgrzech — utworzyła komitat Spiski. Nowy ten stosunek wpłynął na pobudzenie osadnictwa z tej strony, jakoż liczba nowo powstałych osad na mocy przywilejów mnoży się, zakładane bywają wsie i grunty pozyskują oznaczonych właścicieli. Z początkiem XVI wieku Podhale Nowotarskie zaliczone zostało do królewszczyzn, a dzierżawcy takowych, Pieniążkowie, we własnym interesie popierali gorliwie osadnictwo, ma się rozumieć niemieckie, bo przy utwierdzeniu chłopa polskiego na pańskiej roli, tylko narodowość niemiecka mogła dostarczyć ludzi wolnych, sposobnych do kolonizacyi. Tak między innemi powstały za Stefana Batorego dwie wsie: Zakopane i Groń: co do pierwszej przywilej osadniczy z 1578 roku wymienia, iż obszar jej ciągnie się „granicą przez Tatry aż do państwa Spiskiego... wierzchami gór“, drugi zaś obdarza osadników (sołtysów) polanami: „Wierzch, Liśnica, Karpencina, Jaworzyna Węgierska“, leżącemi tuż przy Białce na obszarze, na którym później powstają wioski: Białka, Brzegi, Bukowina. Szczegóły te należy zapamiętać, aby dobrze zrozumieć genezę sporu — co gdy się stanie, my powrócimy do toku dalszego opowiadania.

P. T.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA GALICYJSKA.

Kraków, 10 czerwca.

(Wybory. — Chłopscy posłowie. — Czerwony książe. — Jubileusz Zacharjasiewicza. — Wystawa obrazów Podkowińskiego. — Zjazd pedagogiczny. — Działalność kobiet.)

Na jesień r. b. rozpisane zostaną wybory do sejmu galicyjskiego na nową jego kadencyą sześcioletnią. Zaledwie więc trzy miesiące oddziela nas od chwili, w której część losów Galicyi złożymy w ręce, jeżeli nie całkiem nowego, to przynajmniej odnowionego sejmu. Czas zatem, ażeby przygotowywać już akcyę i rozpatrywać się pomiędzy kandydatami. Filozofia języka wskazuje, iż z w y b o r ó w powinni wyjść ludzie w y b o r o w i i zapewno ten pierwszy, który wynalazł na świecie wybory nie inaczej się na nie zapatrywał, przypuszczał, że będą one szlachetną cywilizacyą między ludźmi przynoszącymi ze sobą największy kapitał pracy, zdolności i chęci ulepszania stosunków społecznych. Niestety, nadzieje te po większej części zawiodły; wybrani składają się w połowie z próżniaków, więcej niż w połowie z ludzi miernych, a nawet bardzo miernych zdolności, a większość też zazwyczaj nie myśli o dobru ogólnem, lecz o dobru swych stronnictw, lub koteryi, za czem się ukrywa dobro własne. Broń mnie Panie Boże, abym wypowiadał powyższą opinię wyłącznie o sejmie galicyjskim: nie jest on może lepszym, ale nie jest i gorszym od wszystkich ciał parlamentarnych. Ale powinien być lepszym, bo nieszczęśliwe warunki, w jakich zostajemy, nie powinny nam pozwalać na zbytek wybierania słabych głów, pracowitych próżniaków i pachołków stronnictw, myślących jeżeli nie o upieczeniu dla siebie dobrej pieczeni, to przynajmniej słodkiej leguminy, reklamy i popularności. I dla tego też ludzie, mający rzeczywiście na celu dobro społeczeństwa, powinni wcześnie krzątać się około wyboru zdrowych moralnie i umysłowo jednostek, ażeby zagrodzić drogę manekinom i szarlatanom. Tymczasem na tem polu panuje zupełna cisza, bo rozmaite wiece włościańskie i inne, o których w pismach czytamy, robią wrażenie czystej komedyi, odgrywanej przez kilku ludzi s i b i s u i s q u e. Wmawianie we włościan, że powinni t y l k o s i e b i e wybierać jest istną farsą, bo lud nasz niestety stoi jeszcze za nizko pod względem oświaty, aby mógł pomiędzy sobą znaleść dostateczną ilość ludzi dorosłych nietylko do zrozumienia dobra publicznego, ale i do radzenia nad niem. Ci demokraci swojskiego chowu, którzyby chcieli widzieć w sejmie zasiadające szeregi włościan, zapominają, że wszelki postęp na świecie był wytworem umysłów wysoce inteligentnych, że prawdziwy postęp więcej na inteligencyi opierać się musi, aniżeli konserwatyzm, że każda idea postępowa zanim sobie zdobyła zwycięztwo, była propagowaną i wywalczaną przez najświatlejsze umysły.

Do historyi akcyi wyborczej, której nie ma, a więc do historyi tego, czego nie ma, przybył fakt charakterystyczny. Grono posłów sejmowych wybiera z pośród siebie C e n t r a l n y k o m i t e t wyborczy, któremu poleca opiekę nad wyborami. Dzieli się on na zachodnio i wschodnio-galicyjski. Temu ostatniemu od lat wielu przewodniczył ks. Adam Sapieha. Ponieważ komitet do tej chwili nie dawał znaku życia, a więc dziennikarstwo zaczęło mniej więcej delikatnie zwracać uwagę księcia pana, że czas byłoby obudzić się z drzemki. Na to książe Sapieha oświadczył w piśmie do dzienników, że całkiem do snu się nie zabierał, a jeżeli nie zwoływał posiedzenia komitetu, to dla tej prostej przyczyny, że nietylko w nim nie przewodniczy, ale całkiem do niego nie należy. Został wprawdzie wybrany, ale wyboru nie przyjął i oświadczył to wszystkim członkom komitetu, którzy też wybrali prezesem hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. A więc winien nie ks. Sapieha, lecz hr. Dzieduszycki. Ale pociągaj tu winnego do odpowiedzialności, kiedy ten prezes setki klubów, poseł, profesor filozofii, powieściopisarz, poeta, historyk sztuki, publicysta, pedagog, krytyk, członek rady szkolnej, mówca, popularyzator naukowy, archeolog, konserwator itd. itd. — pojechał sobie do Konstantynopola, zkąd zapewne przywiezie ze sobą rozprawę archeologiczną o meczetach, poemat o Bosforze, studyum o kobiecie muzułmańskiej, przyczynek do życiorysu Mahometa, artykuł o finansach państwa otomańskiego, studyum o artyleryi tureckiej i rozprawę o tureckich orzechach.

Co jednak było przyczyną, iż ks. Adam Sapieha nie przyjął wyboru do komitetu centralnego? Nic innego, tylko liczne ukłucia szpilką ze strony naszych panów konserwatystów. Książe należał zawsze do osobistości bardzo popularnych, a popularność ta doszła do zenitu po wystawie lwowskiej, na której czynił honory domu. Powiedział mówek, lekko licząc, czterysta, a choć w treści były to rodzone siostrzyce, w każdą z nich umiał wtrącić kilka zgrabnych frazesów, zastosowanych do okoliczności. Każdy prawie rzeczywisty, czy tajny demokrata powróciwszy z wystawy zanim opowiedział o wrażeniu, jakie na nim uczyniła, rozpoczynał od słów: „Byłem na przyjęciu u ks. Sapiehy — wino było bardzo dobre, gospodarz bardzo serdeczny. Mówił do mnie książe, że...“ i t. d. Temi środkami ks. Sapieha chwycił wszystkich za serca, bo nikt tak jak on nie umie utrzymać pod tym względem tradycyi owych „królewiąt“, co niegdyś „papką i czapką“ rządzili tłumami szlachty a przez nie Rzeczpospolitą. Zwano go niegdyś c z e r w o n y m księciem, a chociaż lata pobieliły jego brodę, to zawsze odzywa w nim się ta dawna żyłka nie w czynach, lecz we frazesach. Objawem jego popularności w szerokich sferach, oprócz złożonego adresu z dwustu tysiącami podpisów, było udzielanie mu e n g r o s honorowego obywatelstwa prawie wszystkich miast i miasteczek galicyjskich. Nie podobało się to srodze naszym konserwatystom i rozpoczęła się serya szpilkowania. Kraków ukłuł go pierwszy; kiedy bowiem postawiono w sekcyach rady miejskiej wniosek obdarzenia księcia oraz dyrektora wystawy Marchwickiego obywatelstwem honorowem, rada miejska udzieliła tej godności namiestnikowi hr. Badeniemu. Po wręczeniu księciu wspomnianego powyżej adresu rozpoczął „Czas“ i „Przegląd“ kampanią pełną złośliwości przeciw inicyatorom tego rodzaju uczczenia zasług ks. Adama. O drobniejszych, prywatnych, zakulisowych szpilkach nie wspominam, dość, że ich rezultatem było usunięcie się ks. Sapiehy z centralnego komitetu wyborczego.

Nie może się obawiać szpilkowania Jan Zacharjasiewicz, obchodzący 40-letni jubileusz swej pracy na niwie powieściopisarskiej. Nie brał nigdy najmniejszego udziału w walce

stronnictw politycznych; ztąd też nikomu się nie naraził. Jako artysta obserwował społeczeństwo, a co widział, wcielał w formę powieści, nie rządząc się ani antypatyami ani sympatyami. Wysoko stanął „Świętym Jurem“ i utrzymał się na tej wysokości. Bibliograf wyliczy przynajmniej z 50 tytułów jego powieści, z których każda posiada wartość artystyczną. Dobrze więc zrobiło lwowskie „Koło literackie“, że podniosło myśl jego jubileuszu i szczerze się nim zajęło. Nie należy dla znakomitości dzisiejszych zapominać o tych, co mieli nieszczęście wcześniej się od nich urodzić. A szczęście to jak u Zacharjasiewicza połączone było z więzieniem na Spilbergu, bo lubo nie kłócił on się ze swoimi, to przecież dopuszczał się tej zbrodni, że nie umiał być lojalnym poddanym jednej ze szczęśliwie nam panujących potencyi. W czasach owych zdanie to jego podzielali prawie wszyscy, a kto inaczej myślał, tego nieładnie nazywano. Ale było to już tak dawno, że błąd ten odpuszczą zapewne Zacharjasiewiczowi zwolennicy utrzymania bytu narodowego w formie pokłonów i podziękowań za opiekę berlińsko-petersburską. Jeżeli zaznaczyłem, iż Zacharjasiewicz jako powieściopisarz stał nad stronnictwami, to nie znaczy to, aby w utworach jego nie było tendencyi, a była tą tendencyą myśl szczero polska, która widniała tak w „Świętym Jurze“ jak w powieściach: „Na kresach“, „W przededniu“ itd., które stanowią pod względem myśli jedną całość, uzupełniając się wzajemnie. Pierwiastek miłosny, który dziś wypełnia utwory nawet najznakomitszych powieściopisarzy, dowodząc zarazem czczości ich ducha, w wymienionych powyżej powieściach był na planie drugim, a występował tylko w tych utworach, które pisał Zacharjasiewicz dla kawałka chleba w czasie największej tyranii cenzury rosyjskiej. Podnieść też należy, że Zacharjasiewicz szedł zawsze z biegiem czasu, nie zasklepiał się wyłącznie w pojęciach i stosunkach swego „wieku męzkiego“. I tak z jego ostatnich powieści „Chleb“ jest utworem osnutym na tle socyalizmu, poznańskiej komisyi kolonizacyjnej i funduszu welfickiego, a „Orion i Chryzantema“ stanowi satyrę na dzisiejsze stosunki teatralne i dziennikarskie Zachodu. „Koło literackie“ lwowskie często się spotyka z zarzutami — o ile słusznie nie mogę powiedzieć — to jednak pewna, że od czasu do czasu daje takie oznaki życia, jakiego całkiem nie daje Koło krakowskie. Dyskusye nad książkami Koźmiana i Sulimy o r. 1863 i podjęcie jubileuszu Zacharjasiewicza są tego najlepszym dowodem i muszą też być wpisane w rubrykę dochodów moralnych tej instytucyi.

W sferach artystycznych lwowskich budzi zajęcie wystawa obrazów zmarłego niedawno Podkowińskiego. Widziałem te obrazy już przed trzema miesiącami i nie zrobiły one na mnie tak silnego wrażenia, do jakiego mnie przygotowywała reklama dziennikarska. Podkowiński był zapewne talentem, a może nawet dużym talentem, lecz stanowczo zwichniętym. Najsłynniejszy jego obraz „Szał“, więcej dziwi chorobliwością niż oryginalnością. A zdaje się, iż gonitwa za tą ostatnią była głównem znamieniem twórczości artysty. „Szał“ tyle razy opisywano, że można śmiało nie dodawać jeszcze jednego opisu. Ale weźmy np. obraz „Ironia“. Widzimy młodą kobietę, której połowa ginie w ciemnem tle, na którem widzimy czerwone krwawiące się serce w towarzystwie dwóch silnych dłoni męzkich. Serce to promienieje na wsze strony rozmaitemi jaskrawemi kolorami. Co to ma być? gdzie tu jest ironia? zgadnąć doprawdy trudno. Przypominam sobie jeszcze krajobrazy o dziwnych kolorach. Za to w mniejszych szkicach, w paru portretach piórkiem robionych i w notatkach artystycznych widać rzeczywisty talent, którego rozwinięciu się stanęła na przeszkodzie mania malowania tak jak nikt nie maluje i wybierania tematów takich, jakich nikt nie wybiera.

Podczas Zielonych Świąt odbył się w Krakowie zjazd nauczycieli szkół wyższych, na którym dr. Leonard Piętak zawiadomił, że gimnazyum żeńskie we Lwowie otworzonem zostanie z początkiem roku przyszłego. Nie zdziwiłem się, że w programie wykładów znajduje się łacina, bo przyszłe historyczki, filozofki, lekarki, prawniczki itd. obejść się bez niej nie będą mogły, ale przeraziła mnie greka, bez której świat dawno mógł się był obejść, a która wchodzi do programu chyba kwoli odstraszenia płci żeńskiej od gimnazyum. Największą dyskusyą na zjeździe wywołał referat o przeciężeniu w gimnazyach galicyjskich. Walne zgromadzenie krakowskiego „Koła pań szkoły ludowej“ wykazało, iż zebrały one w ciągu roku kwotę przeszło 5000 złr., z których większą część przeznaczono na rzecz szkoły w Białej. Ten rezultat działalności wydziału tego Koła zasługuje na uznanie, co tem chętniej czynię, iż przed miesiącem charakteryzując ujemnie działalność filantropijno-społeczną pań krakowskich i owemu Kołu pań szkoły ludowej przypiąłem łatkę. Bezstronność każe mi być nieco skruszonym i nieco bijącym się w piersi, co też czynię z ochotą, zastrzegając się jednak, iż nie myślę dla tego wyjątku cofać poglądu mojego na ogół działalności publicznej dam i dziewic królewskiego stołecznego głównego miasta Krakowa.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LONDYŃSKA.

dnia 8-go czerwca.

(Z sezonu. — Urodziny królowej. — Dramat p. Pinero. — Sara Bernhardt i Eleonora Duse. — Sezon operowy. — Epilog sprawy Oskara Wilde.)

Książę-karnawał letni wjechał na ognistym rumaku; słońce poczęło piec poczciwych Londyńczyków, którzy na gwałt powdziewali flanelowe kostyumy i białe trzewiki z żaglowego płótna i wytrząsają z siebie cywilizacyę na trawnikach w tennis'ie i criket'cie. Kłąby kwiatów z ogrodów i parków przewędrowały nawet na damskie kapelusze, tak, że czy to na indyjskiej wystawie, czy w Burlingtońskich salonach sztuki można kształcić się w botanice. Do uświetnienia sezonu przyczyniła się szczególniej wizyta emirowicza afgańskiego, Nassr-ulha chana, któremu Albion za pomocą dobrych obiadów i nadzwyczajnych przyjęć zaszczepia sympatye do Anglii, spodziewając się, iż zmniejszą się odpowiednio jego względy dla Rosyi. Londyn rad jego wizycie, bo czarne baranie czapki i oryginalne kostyumy świty mile wpadają w oko i ożywiają rodzajowe obrazy, jakie przedstawia przegląd wojska lub wielkie wyścigi w Epsom. Przy pięknej pogodzie tegoroczne „Derby“, największy turniej bez przeszkód, cieszył się ogromną frekwencyą, a niespodziany wynik musiał nabić torby bookmakerów po brzegi. Wybrańcem losu był ponownie lord Rosebery, albo raczej koń jego Sir Visto. Szczęśliwszy na torze niż w parlamencie prezes ministrów w roku zeszłym zgarnął także sześć tysięcy funtów za fatygę swego bieguna. Sukces ten wpłynął zbawiennie na sen polityka i z tego powodu nie jest pozbawiony doniosłości na bieg spraw europejskich. Ileżbo złego może nabroić *insomnia* głównego administratora państwa, nad którem nie zachodzi słońce?..... Tymczasem Gladstone, który uważałby sobie za wakacye wyręczenie Rosebery'ego w urzędzie, zaniemógł, lecz oczywiście była to słabość przejściowa. Wielki starzec bowiem, jak się zdaje, wyrzekł się śmierci. To samo dałoby się powiedzieć o królowej, która ukończyła siedmdziesiąty szósty rok życia, a piędziesiąty siódmy szczęśliwych rządów.

Urodziny królowej mijają niepostrzeżenie; czytamy tylko o recepcyi, o orderach i nobilitowaniach, nad któremi zastanawiają się gazety. W rzędzie uszlachconych figuruje trzech przedstawicieli sztuki: powieściopisarz Walter Besant, poeta Lewis Morris i aktor Henryk Irving. O autorze licznych i popularnych powieści literatura nie wyda bardzo pochlebnego sądu, gdyż należy on do tych pisarzy, dla których powieść nie jest dziełem sztuki, lecz poprostu drukiem obliczonym na miłe przepędzenie czasu. Pod względem pomysłowości może rywalizować z wielu powieściopisarzami dawnej szkoły idealistycznej i poniekąd z Emilem Gaboriau. Główna zasługa jego polega na tem, że pośrednio przyczynił się do wzniesienia słynnego Pałacu ludowego w ubogiej dzielnicy Londynu. W jednej z swych powieści bowiem odmalował przybytek, w którymby robotnik znalazł łaźnie, koncerty, czytelnie i inne duchowe zarówno jak fizyczne rozrywki. O Lewis Morrisie znani krytycy utworów poetyckich wyrażają się w ogóle nieprzychylnie, natomiast dla Henryka Irvinga wszyscy znajdują entuzyastyczny poklask. Nie ulega wątpliwości, że jest on jednym z najznakomitszych artystów, jakich widziała scena i godnym spadkobiercą wawrzynów Garick'a. Przez lat wiele na deskach sceny Lyceum odtwarzał pomnikowe postacie Hamleta, Mefistofela, Shylocka, króla Leara z niepospolitym talentem i ogromne położył zasługi około cechu histryonów i teatru angielskiego w ogóle. Prześcignął sam siebie jako Don Quixotte w sztuce z dzieła Cervantesa wyjętej i dziwić się tylko można w obec idealnej kreacyi sympatycznego maniaka, że prochy hiszpańskiego poety nie podniosły się z grobu, aby ujrzeć najprawdziwszego „rycerza o smutnej powierzchowności“, jaki kiedykolwiek istniał.

Nowy dramat Artura Pinero wielkie wzbudził zajęcie i okazał się ciekawem dziełem, lubo nie dorównywającem „Drugiej żonie pana Tanqueray“. Byłoby błędem uważać „Osławioną panią Ebbsmith“ za sztukę opartą na tezie. Wprawdzie z obu dramatów, tak jak w ogóle z każdej poważnej realistycznej sztuki da się wydobyć nawet kilka tez, lecz postacie p. Pinero nie są dość przeciętne i typowe, aby można wmówić w autora, że chciał dać nam więcej prócz zdawkowej nauki moralnej. Jeżeli zaś miał taki zamiar, to tem gorzej dla niego, bo nie dorósł do Ibsenowskich światopoglądów, ani przeniknął do psychicznych podwalin człowieka. Lecz „osławiona pani E.“, a zwłaszcza pierwsze trzy akty są pracą interesującą, w której autor logicznie i zgodnie z prawdą życiową przedstawił niebiezpieczeństwo, na jakie naraża kobietę wolny związek. Atoli niepodobno dojść do żadnej konkluzyi, a jeżeli gwałtem pokusimy się o nią, to okaże się, że małżeństwo jest instytucyą przeżytą, a wolny związek niepraktycznym i niebezpiecznym tejże zastępcą.

Z gwiazd zagranicznych zawitała znowu Sara Bernhardt i przywiozła cały swój najnowszy repertuar a mianowicie *La princesse Lointaine* i *Gismondę* p. Sardou. Sztukę tę wliczyć należy w poczet zgrabnych fabrykatów scenicznych o grubych efektach melodramatycznych, które autor „Rabagasa“ i „Naszych najserdeczniejszych“ tworzy dla specyalnego użytku boskiej Sary i przysporzenia sobie milionów. Współzawodniczy z paryzką aktorką ponownie Eleonora Duse, o której grze pisałem w roku zeszłym. Ciekawym jest porównanie tych dwóch temperamentów artystycznych w rolach Damy kameliowej i Magdy w dramacie Sudermana „*Die Heimath*“.

Zawsze świetny sezon opery przedstawia się tego lata nadzwyczajnie interesująco, będąc procesyą wszystkich bodaj najsławniejszych śpiewaków europejskich. Jakoż naprzód heroiczny tenor Tamagno zachwycił wszystkich jako Otello, a francuzki barytonista Maurel w swej oryginalnej partyi Falstaffa. Niebawem Adelina Patti wystąpi w Trawiacie i innych operach z dawniejszego repertuaru, tymczasem zaś najwybredniejszy meloman muzyki wychodzi oczarowany śpiewem australskiej primadonny Melby, wobec której blednieje nawet tak niepospolita artystka jak Albani. Naturalnie Jan i Edward Reszkowie wkrótce ukażą się tysiącom swych wielbicieli; bez nich bowiem, tak jak bez Paderewskiego, w koncercie sezonowych uciech brakłoby najpiękniejszych akordów. Twórca Fantazyi polskiej wystąpi na jednym z koncertów słynnej austryackiej orkiestry Nikischa i da niezawodnie własny „recital“. O występach innych koncertantów polskich dotąd głucho.

Smutna sprawa Oskara Wilde w dalszym swym przebiegu nie uroniła nic z swej sensacyjności, przeciwnie przechodziła różne fazy, składając się na najgłośniejszą z *causes*

celèbres. Gdyby powieściopisarz osnuł romans na tem zagadkowem i awanturniczem tle, podziwiałby każdy dar kombinacyjny i pomysłowość, lecz nie wierzył w prawdopodobieństwo fabuły. Widocznie dzieją się na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Obrony dramaturga podjął się znakomity adwokat sir Edward Clarke i tak potężne wywarł wrażenie na sędziach przysięgłych i prokuratorze, że, lubo przewinienie zdawało się nie ulegać wątpliwości, sędziowie nie umieli orzec, czy O. W. jest winnym, czy nie. Cofnięto wszakże zarzut o konspiracye z współoskarzonym Taylorem. Wskutek tego sprawa przyszła ponownie przed trybunał i zdawało się, że dramaturg zostanie uznany niewinnym. Po wielu zachodach udało się uzyskać tymczasowe wypuszczenie na wolność Wilde'a za kaucyą 2 i pół tysiąca f., którą złożyli pewien duchowny i starszy potomek margrabiego Queensbery. Zajął on bowiem przeciw ojcu także wrogie stanowisko i żył z nim na stopie wojennej od czasu poślubienia — kelnerki. Otwarcie nawet dał wyraz swemu oburzeniu, bo spotkawszy ojca na ulicy, uważał za stosowne spróbować się z nim na pięście. Obaj sportsmeni przespacerowali się dla tego do cyrkułu, gdzie musieli złożyć po 500 f. jako gwarancyą na to, że będą zachowywać się grzecznie — przez sześć miesięcy. Tymczasem młodszy lord wyjechał do Francyi, a na wieść o boksowaniu się brata z ojcem wystosował list do paryzkiego „Figara“ z ubolewaniem, że nie jemu przypadło w udziale „poprawić“ ojca (sic). Dodajemy do tego, że dramaturga miał łączyć zażyły stosunek z rozwiedzioną margrabiną Q., jak zapewniał adwokat Clarke, a będziemy mieli stek najcudniejszych wypadków, jakie wymarzyć sobie może twórca kuchennych romansów w rodzaju „Izabelli, królowej hiszpańskiej“. Każdy przyzna, że w łonie szlachetnego rodu Queensbery'ych panują bajecznie wesołe stosunki! Przed nowem gronem sędziów sprawa „Oskara“ wzięła odmienny obrót i nietylko poetę skazano na dwa lata ciężkich robót, lecz prokurator uznał, że ta najwyższa kara jest za małą. I tak przybity i osiwiały dramaturg przepadł dla świata i literatury. Tragiczne!

Nobody.

NA WYŁOMIE.

(Lojaliści na Formozie. — Podwójna polityka. — Męczennik idei. — Morfina).

Nie wiem, czy to figiel, czy jakaś dziwna anomalia psychologiczna, o której donosi jeden z japońskich dzienników. Otóż na wyspie Formozie, anektowanej świeżo przez wrogów chińskich warkoczy, postanowiono ojcu najmiłościwiej panującego Mikada zbudować pomnik wspaniały ze składek publicznych i wzywano nietylko Japończyków tryumfujących, ale również mieszkańców zabranego kraju, aby raczyli otworzyć upusty ofiarności swojej. I stał się fakt niezwykły. Lubo zwycięzcy na Formozie gospodarują aż miło według Brennusowej recepty „vae victis“, rzucili notable zabranego kraju lojalne hasło: „Składkujmy!“ Dzięki tej pobudce zgromadzono w krótkim czasie kilka tysięcy Y e n s ó w i przystąpiono do monumentalnego dzieła, które niebawem ozdobi Formozę. Nazwiska japońskiego mistrza, budującego pomnik zmarłego Mikada, nie zapamiętałem, bo te japońskie wyrazy absolutnie w mózgu moim aklimatyzować się nie chcą, i oprócz pana K i t a s a t o, japońskiego Pasteura, oprócz słynnej epopei „Fei-Kemonogatari“, lirycznej antologii „Manjosiu“ i kilku dźwięków geograficznych, pamięć moja odmawia wszelkiej japońszczyźnie gościnności. Niechaj mi zatem wybaczy rzeźbiarz japoński, że mimo całego szacunku, jaki budzi we mnie sztuka, chociażby nawet zrodzona w jakiem Tokio, Kioto lub słynnem z kapeluszy słomianych Yokohama, nie mogę nazwiska jego przekazać potomności, — dość, że pomnik stanie na Formozie i dziennikarscy heroldzi otrębują na wschód i zachód, północ i południe, że zbliża się uroczysty moment odsłonięcia. Lękano się zrazu, że w puch rozbici republikańscy wyspiarze zamanifestują wyraźną wstrzemięźliwością, że uwierzyć im trudno, aby pięty Formozan stworzone były jedynie dla japońskich ćwiczeń w krwawej bastonadzie, ale niebawem nabrali panowie zaborcy przekonania, że im energiczniej bambus świszczy w kraju zwyciężonym, tem czulej niewolnicy potrafią lizać rękę egzekucyi. Popłynęły składki, a w chwili odsłonięcia pomnika sztandary zdeptanego ludu pochylą się przed kamienną statuą Mikada, związki i towarzystwa pełnić będą straż honorową i gardła Formozan zanucą jakieś japońskie „B o ż e c a r j a c h r a n i“ lub „H e i l d i r i m S i e g e s k r a n z“. Notable zabranego kraju spodziewają się podobno, że ta rozczulająca pokora ozdobi ich piersi orderami „wschodzącego słońca“ i „złotego kwiatu“.

Tyle donosi jeden z japońskich dzienników. Wiadomość tę oczywiście podaję na odpowiedzialność kolegów z Tokio, ale rozpatrując się w naszych poznańskich stosunkach, sceptycyzm mój, zamiast rosnąć, maleje z minuty na minutę. „Przegląd“ ostrzegał niejednokrotnie przed demoralizującym wpływem hyperlojalnych umizgów polskich w sejmie i parlamencie, — była to morfina sączona kroplą po kropli, w coraz większych dozach w organizm społeczeństwa, niszcząca energię, poczucie godności osobistej, odporność i świadomość krzywdy narodowej. Zdaje się, że to widmo z wróżbą zagłady na ustach stawało nieraz i tam, gdzie ukuto nowy dekalog dyplomacyi polskiej, lecz posłowie nasi sporządzili sobie puklerz dziwaczny przeciw dręczącym skargom i przeczuciom. Powiedziano nam, że można odgraniczyć dyplomacyę Koła od dyplomacyi narodu, że Berlin daleko leży od Poznania i że taktyczne manipulacye reprezentantów społeczeństwa nie zapuszczą ideowych korzeni w społeczeństwie samem, — jednem słowem uspokojono sumienie sofistycznym wybiegiem, że lojalizm wprawdzie niweczy moralne podstawy narodowego bytu, ale że można skonstruować dwie polityki: jedną lojalną w stolicy, drugą narodową w kraju. Tą dyalektyczną woltą lubił się mianowicie posługiwać dymisyonowany dziś już patryarcha nowego kursu, a gdy raz smutnie potrząsałem głową nad bezsilnością sofistyki takiej, położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

„Pracujcie tylko dzielnie tam na prowincyi, nie naśladujcie ślepo nas deputowanych, budźcie ospałych, karćcie służalców i karyerowiczów, a to, co Pan nazywasz lojalną morfiną, nic nam nie zaszkodzi. My co innego i wy co innego. Posłowie muszą w pewnych warunkach nawet hyperlojalne zająć stanowisko, ale społeczeństwu w nasze tory wstępować nie wolno“.

Tak mówił prorok kursu nowego, a dziś jeszcze nie mogę obronić się wrażeniu, że człowiek ten wierzył fanatycznie w sztuczną budowę podwójnej polityki. Zarzucano mu nieraz złą wolę, zarzucano postronne cele i dążenia, — ja tego zarzutu nie podniosłem nigdy i przekonany jestem, że dziś jeszcze uważa on się za męczennika idei. Było coś chorobliwego w jego walce o tryumf lojalizmu, — szedł zapatrzony błędnem okiem w słońce berlińskie i wyciągał ku niemu ręce jak Gwebr, czciciel ognia. Męczennik? tak! ale męczennikiem idei był także Ravaillac rozćwiartowany w Paryżu, męczennikiem jest także sekciarz rosyjski, obcinający piersi kobietom i karany za to wieżą lub szubienicą. Męczennik? Jakiś urok bohaterstwa wieje z tego słowa, — ale fanatyk ścigający swoje i d é e s f i x e s z uporem maniaka i stojący z dumą pod pręgierzem opinii, z imieniem Boga swojego na ustach, może w stosunku do społeczeństwa stać się równie szkodliwym jak człowiek złej woli, działający w rozbracie z sumieniem. Społeczeństwo sądzić nie może o wartości motywów, — ono sądzi tylko o wartości idei i czynu. Fanatyka walczącego za fałszywe Bogi rozgrzeszy etyk-psycholog, lecz społeczeństwo potępić go musi.

I potępiono go, a dzień każdy świadczy najwyraźniej, że wyrok opinii, że instynkt tych tak często pogardzanych tłumów błędnego nie ogłosił sądu. Słońce berlińskie okazało się chmurą gradową, siejącą kawałkami lodu po prowincyach polskich, i w całym zaborze rozpoczęła się jakaś wściekła orgia teutońskiej drapieżności. Przerzucając dzienniki poznańskie, zachodnio-pruskie i szląskie, spotykam codziennie nieomal ciekawe ilustracye „nowego kursu“ i „wielkanocnych koncesyi“. Pieszczą nas tak czule, że w tych uściskach tchu nam już brakuje i za bałwochwalcze ofiary i kadzidła Koła polskiego płacą zrywaniem polskich chorągwi, niszczeniem polskich napisów, rozwiązywaniem polskich zebrań, zakazem polskich majówek. Niech żyje ugoda! A wśród potopu germańskich karesów idzie przez polskie łany i siedziby jakaś nuta głębokiej pokory i strachu. „Podwójna polityka“, która miała chronić naród przed demoralizacyą, święci wspaniałe tryumfy, bo społeczeństwo nietylko kark zgina potulnie, nietylko protest swój dusi w głębinach gardła, nietylko w słodkie uśmiechy stroi usta swoje przed zgrają Bismarckowskich wychowańców, ale ciśnie się nawet tam, gdzie wróg urządza na polskiej ziemi własne narodowe igrzyska, — tam, gdzie go nikt nie prosi, gdzie prosić go nie ma czelności. Morfina działa. Duma narodowa i odporność dawna, — niezbędne mianowicie w walce z silniejszą cywilizacyą — w proch się rozsypały, i tłumy uwiedzione dworskiem mamidłem składają na ołtarzu karyery cześć swoją i honor. Z prowincyi dziwne nadchodzą wieści; — Formozanie! rodzonych braci posiadacie w Księstwie.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

„Q u o V a d i s“ po niemiecku. „Niederrheinische Volkszeitung“, wychodząca w Krefeldzie nad Renem, pierwsza z gazet niemieckich rozpoczęła przekład powieści Sienkiewicza. Tłomaczem jest dr. Karkowski z Berlina, współredaktor „Germanii“.

* * *

N e m o p r o p h e t a i n p a t r i a. O Heinem, który ośmieszył pruskie żołdactwo i filisterstwo północno-niemieckie, i którego płomienne zwrotki wciąż jeszcze targają trzewia wyzyskiwaczy wszelkiego gatunku, Treitschke, w swym dopiero co wydanym piątym tomie „Historyi niemieckiej XIX wieku“, ma smutną odwagę wyrazić się, że to był „poeta podłości!“

W miarę, jak w Niemczech lżą Heinego, we Francyi cenią go coraz wyżej. Dr. Betz wydał osobne studyum w Zurychu o tym przedmiocie („Heine in Frankreich“). Okazuje się, że przekłady z Heinego, dokonane przez Gerarda de Nerval, bardzo wpłynęły na najnowszą generację poetów w Paryżu. Banville nazywa go największym poetą obok Victora-Hugo, a Richepin mieni go jednym z największych po wszystkie czasy. A więc i po śmierci: nemo propheta in patria!

* * *

M i ł a n i e s p o d z i a n k a. Słynna obecnie artystka tragiczna angielska, miss Olga Nethersol, zawdzięcza przypadkowi, a także i swej śmiałości, świetną karjerę aktorską. Była ona dopiero uczennicą — i marzyła o pierwszym występie, który wydawał się jej jeszcze bardzo dalekim. Aż tu pewnego dnia przybiega do niej stary aktor, jej nauczyciel, wołając: „Mis Olgo, chcesz pani dziś wystąpić?“ — „W jakiej roli?“ — „Umiesz ją doskonale! Jako Lydia“. — „Ale gdzie?“ — „W domu obłąkanych! „Tak, ale to nic wielkiego! Urządza się tam przedstawienie. Nasza wielka mistres Glewer zachorowała. Pomyślałem więc o pani, przybiegłem tu zdyszany — i... czy pani chcesz uratować to zapowiedziane widowisko?“ — „Chcę! Idźmy!“ odparła pierwsza gwiazda sceny angielskiej. Spakowano drobiazgi i ruszono w powozie — do... domu obłąkanych. W wielkiej sali, napełnionej po brzegi publicznością, urządzona była scena. Miss Nethersol, aczkolwiek biło jej mocno serce, odważyła się jednak wejść na scenę. Zobaczywszy, że „obłąkani“ słuchają pilnie i zachowują się „gentlemanlike“, nabrała odwagi. Naraz wzrok jej pada na jakiegoś czło-

wieka, który siedząc w pierwszym rzędzie, patrzy na nią wytrzeszczonemi oczyma — Boże wielki — jakiemi oczyma? — Obłąkany — myśli biedna dziewczyna — obłąkany z pewnością! — I ten wzrok prześladuje ją, miesza, a trwoga ściska jej gardło — ale dla roli Lydji właśnie tego było potrzeba. Młoda debiutantka porywa całą publiczność, a najzagorzalej bije jej brawo właśnie on — ten obłąkany z pierwszego rzędu. Sztuka się kończy — nowa burza oklasków. Po skończeniu artystkę otacza całe grono gości z hołdami i powinszowaniami. Naraz zbliża się do niej widz z pierwszego rzędu, mówiąc: „Pani masz talent, wielki talent! Ja panią angażuję“. A później mówi jej o rolach, jakie ona zaraz „u niego“ obejmie, przyczem dodaje, że „na początek dostanie pensji 20 f. szt. (400 m.) na tydzień. Oczywiście warjat, już tego dowodzi gaża, płacona wielkim artystkom. W przestrachu chwyta też ramię znajomego lekarza i szepce: „Na Boga! doktorze uwolnij mię pan od tego szaleńca!“ — „Bądź pani rada, jeśli on panią zaczepił — odpowiada lekarz. Wiesz pani, kto to? Dyrektor teatru Drury Lane!“ Wszystko się wyjaśniło, i w dziesięć minut kontrakt podpisano.

* * *

Nr. 11. lwowskiego tygodnika „M o n i t o r“ wyszedł i zawiera:

Quousque tandem? — Ehre dem Polen! — Gdzie kupcy żydowscy? — Chmielowski o Kasprowiczu. — Z lwowskiego salonu. — Występy Zboińskiego. — Wieczór Juliusza Słowackiego. — Helota (wiersz). — Fejleton: „Z szarych końców“ przez Lucyana ze Swirza.

* * *

S t a n i s ł a w S z c z e p a n o w s k i o p. K o ź m i a n i e. W nr. 2 wiedeńskiego czasopisma „Przełom“ znajdujemy w artykule St. Szczepanowskiego p. t. „R a c y o n a l i z m n a r o d o w y“ następującą krytykę dzieła Koźmiana o r. 1863:

„Literatura narodowa powinna być narodowem objawieniem, głoszącem prawdy żywotne dla narodu.

Czyż dzieło p. Koźmiana, zaklinające naród, żeby się wyrzekł idei niepodległości a ratował byt bez niepodległości, jest takiem narodowem objawieniem, słowem życia, zadatkiem przyszłości, „dobrą nowiną“ dla upadłych na duchu, która krzepi walczących, budzi obojętnych, podnosi serca, zapala myśli?

Gdzież listy wierzytelne, gdzież rękojmia posłannictwa? W życiu i czynach autora? Nie byłem w stanie się o nich dowiedzieć. W jego wiedzy głębokiej? Cechą wiedzy jest zastosowanie umiejętne „cyrkla, wagi, miary“ do przedstawienia i ocenienia opisywanych wypadków, — ja widzę tylko wyrocznię ale samozwańczą, dogmat, ale ujemny. Cyrkla, wagi, miary nie dostrzegłem ani razu w tym luźnym zbiorze fejletonow, które równie dobrze można czytać na wspak od końca do początku, jak od początku do końca.

Jedyne stanowisko, z którego książka jest dla mnie interesującą, jest (uważając ją jako spowiedź osobistą), osobiste wyznanie zwątpienia, zwątpienia, dzielonego może tu i owdzie przez pojedyńcze jednostki, ale którego się nie ma prawa przypisywać nawet najbliższemu otoczeniu autora. Zresztą możnaby zrozumieć psychologicznie zwątpienie całej jednej generacyi pokonanej w walce, jeżeli ona woli szukać przyczyny klęski w słabości sprawy narodowej, a nie we własnej nieudolności“.

W dalszym ciągu porównuje autor Cieszkowskiego z Koźmianem i tak kończy ocenę swoją:

„Tak jak racyonalizm p. Koźmiana stałby się dla narodu samobójstwem, tak racyonalizm Cieszkowskiego będzie zadatkiem przyszłego zwycięstwa“.

* * *

Z y g m u n t S a r n e c k i. Nowele. Złoczów (bez daty), str. 186.

Cśm nowel i obrazków składa się na ten zbiorek. Wszystkie potwierdzają zasłużoną i dawno zdobytą reputacyę Sarneckiego, jako dobrego stylisty i obserwatora, jako wreszcie pisarza, odczuwającego serdecznie nędzę ludzką i propagatora uczuć szlachetnych. Najpiękniejszym w tym zbiorze obrazkiem jest „Marta“, nowela, opisująca miłość młodego człowieka do przybranej opiekunki. Dowcipnem jest studyum quasi-polityczne: „Pani Pelagia i cesarzowa Eugenia“; typ tej pani Pelagii, zakochanej na odległość w żonie Napoleona III., należy dziś już wprawdzie do przeszłości, ale jest niezmiernie prawdziwym. Również zręcznie i dowcipnie wprowadzony jest „Dolcio“, tenor, o olbrzymim materyale głosowym, którego pierwszy występ na scenie rozpoczyna się tryumfem, a kończy upadkiem, prowadzącym do domu waryatów. W obrazku tym wybornie są naszkicowane śmieszności nauczycieli śpiewu. W „Tereni“, pochwyconej umiejętnie z życia, razi naturalistyczne zakończenie; toż samo da się powiedzieć i o „Wilkach“. Za to szkic „Powiem mamie“ bardzo smacznie i przyjemnie opisuje rzucenie pierwszych nasion zazdrości w serce młodej mężatki. Poetyczna „Tęcza“, drobny obrazek „Nastka“ i czytający się z naprężoną ciekawością „Pojedynek“, wypełniają ten zbiór nowel wysoce utalentowanego komedyopisarza i wytrawnego publicysty.

* * *

P r e m j e d l a l i t e r a t ó w p o l s k i c h. Galicyjski wydział krajowy rozpisuje konkurs z terminem prekluzyjnym po 31 grudnie 1895 roku na dwie premje z fundacyi Franc. Kochmanna, a to jednę w kwocie 500 złr., drugą w kwocie 1000 złr. dla dwóch dzieł w języku polskim za najlepsze uznanych, i wzywa wszystkich literatów polskich bez różnicy, w którym kraju i pod jakim rządem żyją, ażeby w powyższym terminie dzieła swoje, o ile je uważają za godne ubiegania się o te premie, przesyłali do Lwowa pod adresem Wydziału krajowego. W myśl statutu fundacyi mogą być dopuszczone do konkursu dzieła autorów polskich w języku polskim, z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej i teologicznej, zaś wydawnictwa materjałów historycznych lub innych, bibljograficzne itp. tylko wtedy, jeżeli im towarzyszy samodzielne oryginalne dzieło autora. Także utwory autorów już zmarłych mogą się ubiegać o premię konkursową, jednakże z zastrzeżeniem, że jeżeli są to dzieła już drukowane za życia autora, to im tylko w ciągu trzech pierwszych lat od jego zgonu prawo do konkursu służy. Jeżeli zaś są to prace jeszcze nieogłoszone drukiem, to przyznana im nagroda przedewszystkiem na wydrukowanie dzieła użytą być powinna. Dawniejsze jednak publikacye niż z r. 1886, jako roku o dziesięć lat wyprzedzającego prekluzję niniejszego konkursu, bez różnicy czy ich autorowie żyją lub nie, nie mogą według postanowień statutu być dopuszczone do konkursu.

* * *

D a u d e t o A n g l i k a c h. Alfons Daudet bawi z całą rodziną w Londynie i doznaje nadzwyczajnie gościnnego przyjęcia. Jak pokazuje się z interviewów, autor „Królów na wygnaniu“ przywiózł z sobą dużo uprzedzeń a nawet „nienawiści do rasy“. Pomimo „haniebnej kuchni“ wszakże, przekonywa się do anglosasów, choć nie ma nadziei, aby póżno zabrawszy się do rekognoskowania Wyspy, doszedł tak daleko w uwielbieniu jak Bourget, który w wspomnieniach z Ameryki reklamuje nawet łydki cór „brata Jonatana“. Przytoczymy kilka ciekawych uwag z jego rozmów z korespondentami „Figara“ i „Daily Chronicle“: „Pierwszem wrażeniem, jakie odebrałem, a które opanowało mnie i uderzyło jak promień słońca w płytę fotograficznej kamery, było, mimo niezliczonej liczby wozów, dorożek, różnych wehikułów i jaskrawych omnibusów, mimo ruchu i uwijających się tłumów — ogólnie panujące milczenie. Milczenie to mające w sobie coś niepokojącego, sprawia, iż poruszamy się jakby w pośród mrowiska milczących automatów“. Szczególną uwagę jego zwrócił wielki most „wieżowy“, który nazwał „la plus colossale signification de ce, que peut l'ésprit humain“. Wobec Londynu wydaje się Paryż „delikatnie szlifowanym drogim kamieniem drobnych rozmiarów“. Londyńczyków scharakteryzował jako połączenie flegmatycznego spokoju z uprzejmością. Stanleya nazwał „najpiękniejszym rezerwoarem ludzkiej energii, który istniał od czasów Napoleona“. Wielce zaimponowali mu politycy dla tego, że biorą bardzo żywy udział w sprawach, wychodzących po za zakres ich działalności i pracują także na niwie naukowej. Cechą najwybitniejszą Anglików jest duma. „My Francuzi nie posiadamy tej dumy w dostatecznym stopniu; skorzy jesteśmy do naigrawania się z siebie, z ojczyzny i do zrzucania naszych bożków. Ruchliwość jest naszą główną cechą a w szybkiej pracy intelektu leży niebezpieczeństwo. Spoglądam na Francyę z innego punktu widzenia i zrozumiałem wiele rzeczy dotąd dla mnie niejasnych“.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne Na posiedzeniu komisyi dla spraw zagranicznych węgierskiej delegacyi wypowiedział hrabia Gołuchowski mowę, w której oświadczył wyraźnie, że politykę poprzednika swego uważa za najwłaściwszą i najodpowiedniejszą dla interesów Austryi — Proces zakładu Aleksyanów w Akwizgranie wywołał w całych Niemczech potężne wzburzenie. Pisma liberalne zamieściły z powodu tego szereg ostrych artykułów przeciw katolickim zakonom w ogóle, pisma katolickie potępiają również gospodarkę Aleksyanów, dodają jednak że niesłusznem jest uogólnienie zarzutów. Proces Akwizgrański stanie się przedmiotem dyskusyi w izbie deputowanych. — Japończycy zajęli już niemal całą Formozę. — W poniedziałek ubiegły odbyło się uroczyste otwarcie parlamentu włoskiego.

Teatr i muzyka. Panie Zimajer i Łaska, oraz panowie Trapszo i Rapacki opuścili poznańskie towarzystwo dramatyczne, odbywające podróż artystyczną po miastach prowincyonalnych. — Na cześć Heleny Modrzejewskiej odbył się bankiet, urządzony staraniem Koła literacko-artystycznego w Krakowie. Przemawiali p. p. Bałucki, Asnyk, Kotarbiński, Benedyktowicz, Wodzinowski i Bylicki. — Teatr lwowski wznowił z powodzeniem efektowne widowisko sceniczne p. t. „Podroż naokoło ziemi w 80 dniach“. Włoskie towarzystwo śpiewaków operetkowych urządza w Warszawie szereg przedstawień. — „Kur. Codzienny“ donosi, że w oczekiwanej niecierpliwie operze Paderewskiego, osnutej na tem samem tle co „Chata za wsią“ Kraszewskiego, znajduje się scena wielce efektowna, w której „tęsknotę cygana za sztuką przerywa od czasu do czasu płacz jego dziecka“. Talent najtrudniejsze dysonanse rozwiązać potrafi — jednak mimowoli przychodzi tu na myśl przestroga: „du sublime au ridicule...“ — Akademia francuska przyznała nagrodę Augiera (5000 fr.) Franciszkowi Coppé za dramat „O koronę“. — Gabryela Śnieżko-Zapolska przybyła do Warszawy i rozpocznie tam szereg występów w teatrze Rozmaitości.

Zjazdy i kongresy. W roku przyszłym odbędzie się w Kijowie zjazd przyrodników.

Z m a r l i:

L o t a r M e y e r, wybitny chemik niemiecki, zm. w Tubindze w końcu maja.

F r a n c i s z e k N e u m a n n, słynny przyrodnik, zm. w Królewcu w końcu maja.

BIBLIOGRAFIA.

Piotr Górski. Biurokracya w autonomii. Kraków, 1895.

Juliusz Turczyński. Nasza Odysseja. Obraz z wychodźtwa brazylijskiego. Lwów, 1895.

Piotr Rodoć. Pogadanki lwowskie. Lwów, 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

A u t o r o w i p o e z y i „Z t e k i A h a s v e r a.“ Z łaskawie nadesłanych poezyi skorzystać nie możemy.

A n i o ł e k - G o ł ą b e k z n a d G ł d y. Sprawę tę poruszyliśmy już w Nr. 22 i powrócimy do niej po ukończeniu powieści. Wybaczy Szanowna Pani zatem, że „Odezwy do „Dziennika Poznańskiego,““ na razie przynajmniej, nie zamieścimy. Autorem owego „Aniołku czekamy“ jest niejaki p. Rayski, maniak — grafoman mieszkający w Paryżu. „Pisarz“ ten jest przedmiotem bezustannej humorystyki w kolonii paryzkiej, a elaboratów jego nawet pisma amerykańskie bezpłatnie zamieszczać nie chciały. Snać amerykańscy dziennikarze mają więcej zmysłu krytycznego niż redaktor „Dziennika Poznańskiego.“

„K t o ś z g ł u c h e j p r o w i n c y i.“ Jest to wyjątek z utworu Konopnickiej, należącego do cyklu „Piosenki i Pieśni.“

Za nakład i redakcyę odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 25. Poznań, Niedziela 23. czerwca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

Czas odnowić przedpłatę!

„Przegląd Poznański“ kosztuje kwartalnie na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi

3,75 mr.

w mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej, wraz z odnoszeniem do domu

3 mr.

we wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową

4,00 mr.

„Przegląd Pozn.“ zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 86 a.

Wszyscy nowi abonenci otrzymają bezpłatnie początek powieści: „ENGELKE“.

TREŚC.

Do czytelników.

Na progu nowego kwartału zwracamy się do czytelników naszych z usilną prośbą o rozszerzanie pisma naszego w kole bliższych i dalszych znajomych. „Przegląd Poznański“ jest jedynym tygodnikiem polityczno-literackim w całym zaborze pruskim, a najwybitniejsze organa warszawskie i galicyjskie, oraz najpoważniejsi pisarze polscy wystawili mu niejednokrotnie zaszczytne świadectwo, witając w nim strumień życia nowego na wyjałowionej umysłowo glebie. Echa jednak nie było w zaborze pruskim; własne społeczeństwo pod wodzą naczelnych organów swoich powitało zrazu niechętnem milczeniem „nowych ludzi“, a gdy wierni programowi rozpoczęliśmy pracę budzenia objektywnej krytyki w dziedzinie polityczno-społecznego życia, wszczęła się otwarta i zakulisowa walka przeciw tym, którzy iść nie chcieli pod komendą gerontów, rozkochanych w skamieniałym konserwatyźmie i szerzących kult dyletantyzmu, obłudy i hyperlojalnych umizgów w społeczeństwie polskiem. Prąd klerykalno-ugodowy, przenikający wszystkie pory życia naszego, zwrócił się przeciw nam z słowem nienawiści i kamieniem potępienia, a w pierwszych szeregach stanęli ludzie, których koteryjny interes lub systematycznie hodowana bezkrytyczność wyniosły do wyżyny powag. Lękano się promieni trzeźwej krytyki, w obec której niejedno bożyszcze zstąpić musiało z sztucznego piedestału, i niejedna dekoracya naszych instytucyi i społecznych działań, wzniesiona w osobistym interesie jednostek lub w interesie źle zrozumianego patryotyzmu, w proch się potoczyła. Walczono z nami nietylko w imię idei reakcyjnej, w imię haseł ultra-zachowawczych, lecz walczono przedewszystkiem w imię sztucznie wykarmionej obłudy społecznej, w imię fałszywych blasków, schlebiających ambicyi całego legionu naszych „starszych braci“.

Przeciwników nie przerażał tyle umiarkowany liberalizm i narodowo-demokratyczny kierunek „Przeglądu“, ile raczej szczerość i uczciwość krytyki naszej w domowych sprawach, ile protest przeciw królestwu miernoty, przeciw koteryjnym liściom figowym, przeciw bractwom wzajemnym adoracyi, przeciw wysuwaniu względów osobistych przed sprawę publiczną, przeciw zamilczaniu najżywotniejszych, choć może drażliwych kwestyi, w ton nadających organach prasy poznańskiej.

Najpotężniejszym jednak wrogiem stronnictwa Przeglądowego jest ta dziwna, ta przerażająca apatya społeczeństwa, które poza ciasnym obrębem aktualnej polityki prowincyonalnej i poza granicami poszczególnych zawodów nie szuka pokarmu dla umysłów swoich. Szerszego życia myśli ludzkiej, ogarniającej prądy społeczne, filozoficzne i artystyczne nowoczesnej cywilizacyi, badającej drogi, po których kroczy duch ludzki, pracującej nad wydoskonaleniem i rozszerzeniem własnych pojęć życiowych, szukamy napróżno w kresowych dzielnicach; — błyska ono gdzieniegdzie, ale ogół inteligencyi pozostał mu obcym i dla tego literacko-naukowa działalność pisma naszego budzi więcej zainteresowania poza rogatkami zaboru pruskiego, niż w najbliższej ojczyźnie naszej. A przecież zgromadziliśmy około „Przeglądu“ najwybitniejsze umysły literatury polskiej, — a przecież pióra A s n y k a, B a r t o s z e w i c z a, J e l l e n t y, K a s p r o w i c z a, R o d z i e w i c z ó n y, Ż e r o m s k i e g o i t. d. składają owoce myśli i talentu w łamach pisma naszego, — a przecież staramy się być zwierciadłem wszystkich prądów życia europejskiego!

Zaliczeni przez bezstronną krytykę do poważniejszych i szersze zakresy obejmujących tygodników polskich, stajemy dzisiaj przed społeczeństwem naszem nie z żadaniem jałmużny, lecz z żądaniem poparcia w imię wspólnych interesów humanitarnych i narodowych.

Nadchodzący kwartał, noszący piętno fatalnej „s a i s o n m o r t e“ na czole, zatrważa zwykle czytelników pism peryodycznych, szukających w prasie napróżno żywszego ruchu i życia. Dzięki jednak rozszerzeniu stosunków literackich będziemy w stanie nawet w „martwym sezonie“ szeregiem ciekawych artykułów, powieści i feljetonów zainteresować abonentów naszych; barwne obrazki z życia poznańskiego, ciekawe korespondencye z wielkich centr europejskich, utwory beletrystyczne pierwszorzędnych pisarzy i krytyczne przeglądy prądów politycznych zapełnią łamy pisma naszego. Poznań, witający galicyjskich i kongresowych gości na wystawie swojej, stanie się niebawem ogniskiem wyjątkowego ruchu, a w oczekiwaniach tego pulsującego życia ukazują się dzisiaj już za kurtynami polityki naszej dziwne zakusy w imię haseł chorobliwego lojalizmu. Sezon wystawowy zapowiada mnóstwo interesujących motywów, z których wysnujemy szereg ciekawych illustracyi stosunków poznańskich.

Zapraszamy zatem usilnie do przedpłaty i wzywamy raz jeszcze wszystkich przyjaciół, aby w imię tych wspólnych idei, które nas złączyły i powołały do życia pismo nasze, rozwinęli gorliwą agitacyą za rozszerzaniem „Przeglądu“. Nie dość kochać platonicznie swój sztandar, — nam trzeba w imię tego sztandaru pracować. Nie dość czcić ideały swoje, — nam trzeba hufce prozelitów wieść do świątyni tych ideałów. Przeciwnicy nasi odznaczają się fanatyzmem nienawiści,—my rozwińmy pewien fanatyzm miłości dla chorągwi naszej, jednajmy jej nowych szermierzy i nieśmy od domu do domu wytrwale i odważnie ideę naszą. W tym celu prosimy przyjaciół „Przeglądu“, aby zechcieli zamawiać b e z p ł a t n e e g z e m p l a r z e o k a z o w e i rozrzucać je w gronie znajomych swoich. W obec fałszów, rozsiewanych o piśmie naszem przez heroldów reakcyi, jest to najskuteczniejszy środek obrony. Przekonaliśmy się bowiem niejednokrotnie, że dokładne poznanie treści i kierunku „Przeglądu Poznańskiego“ rozwiało niechęci, wyrosłe na gruncie tendencyjnych insynuacyi i ubliżających pogłosek. A zatem raz jeszcze prosimy: N i e c h a j c z y t e l n i c y n a s i r a c z ą n a m d o n i e ś ć, i l e e g z e m p l a r z y o k a z o w y c h b e z p ł a t n i e i m n a d e s ł a ć, n i e c h a j r o z w i n ą j a k n a j g o r l i w s z ą a g i t a c y ą z a p i s m e m n a s z e m, n i e c h a j b r o n i ą o d w a ż n i e s z t a n d a r u, k t ó r e m u s ł u ż ą.

REDAKCYA.

POLITYKA.

Z najnowszych dziejów Szląska,

napisał

Szlązak.

III.

Jak już zapowiedziałem w przeszłym artykule, wspomnę, zanim przejdę do szczegółowego rozbioru wypadków z r. 1893, pokrótce o różnych epizodach walki ojców naszych z niemczyzną, ponieważ ogólne panuje mniemanie, że wypadki owe były pierwszą próbą ze strony ludu szląskiego ku ocaleniu polskości od zagłady. Przyczyni się to też w części do lepszego zrozumienia sytuacyi dzisiejszej.

Otóż pierwszym objawem oporu ludności polskiej przeciwko cisnącej się ze wszech stron zwłaszcza na Szląsk dolny niemczyznie, była walka dwóch Piastów, dwóch braci rodzonych: Henryka II., księcia wrocławskiego z młodszym bratem Konradem.

Henryk II. otoczył się Niemcami i sprowadzał ich coraz więcej do Księstwa swego, darząc przywilejami i ziemią; — około Konrada skupiła się pokrzywdzona w swych prawach ludność tubylcza. Ale na zawołanie księcia Henryka rycerstwo niemieckie tak licznie posypało się do szeregu jego, że Konrad uledz musiał przemocy.

Niedługo po tej pierwszej nieudanej próbie podjął walkę z Niemczyzną Tomasz II., biskup wrocławski, i toczył ją wytrwale przez długie lata, chociaż nawet własne jego niemieckie duchowieństwo wyłamało się z pod jego władzy i popierało otwarcie wyklętego za różne gwałty stronnika Niemców Henryka Probusa.

Ale i Biskup Tomasz nie zdołał powstrzymać zalewu i zeszedł do grobu ze sercem złamanem widokiem niedoli ludu swego. Następcy jego z małemi wyjątkami byli więcej otwartymi a nieraz strasznie zaciętymi wrogami polskości. Najdalej posunął się w swej nienawiści do wszystkiego, co polskie, Jan, biskup wrocławski, panujący pod koniec XV wieku. On to gwałtem wydzierał polskiemu ludowi co lepsze ziemie i rozdawał je Niemcom, a grabież swą uzasadniał twierdzeniem, „że polski chłop nie jest zdolny do pilnej uprawy roli". Tenże Biskup w r. 1495 rozkazał chłopom polskim we wsi Wojciec pod Grotkowem, aby w przeciągu lat pięciu nauczyli się po niemiecku, bo w przeciwnym razie wypędzeni zostaną ze wsi. A jak wielką już wtedy pogardę okazywali Niemcy koloniści tubylcom, dowodzi najlepiej fakt następujący: Gdy Opat Augustynianów wrocławskich, Maciej, zmarły w r. 1429, obsadził chłopami polskiemi folwark klasztorny pod Tyńczą, w pobliżu miasta, Niemcy nie nazywali wsi tej inaczej jak wsią „głupich Maćków".

Przytaczam drobny ten na pozór epizodzik z dziejów naszych dla tego, aby pokazać, ile to upokorzeń biedny lud nasz już przed tylu wiekami znosić musiał ze strony napływowej ludności niemieckiej.

I na Górnym Szląsku, jakkolwiek tu nacisk niemczyzny był mniej silny, nie brakło starć między polską i niemiecką ludnością. Już w wieku XIV przyszło w raciborskim kościele Dominikanów między Niemcami a Polakami do walki krwawej, wskutek której kościół rzeczony trzeba było poświęcić na nowo, a najlepszym chyba dowodem, że i nasi Ojcowie bronili się energicznie przeciwko niemczyznie jest znany zapewne ogólnie spór o kaplicę polską w Raciborzu w wieku siedemnastym.

Niestety lud sam, opuszczony przez swą szlachtę, nie mógł się wybić z pod gniotącej go przewagi i wszelkie próby odnośne kończyły się niepomyślnie, i gorszy tylko ucisk pociągały ze sobą.

Dopiero od roku 1841 — od chwili zaanektowanie Szląska przez Fryderyka II. ustały nawet i próby takie, bo żelazna ręka biurokracyi pruskiej ciążyła stokroć silniej nad Szląskiem niż rządy Habsburgów. I przez blizko sto lat głucha cisza zaległa dzielnice nasze. W ciągu tych stu lat zniemczył się do reszty Szląsk dolny i z Księstw środkowo szląskich wyparto żywioł polski prawie zupełnie. Już i Górnemu Szląskowi groził zalew, — gdy w roku 1848 zajaśniała po raz pierwszy jutrzenka lepszej przyszłości. Ks. Bogedajn zaczął wydawać pismo polskie, a chociaż to wkrótce upadło, to pierwsze ziarno było rzucone i padło na urodzajną rolę. Co się nie powiodło ks. Bogedajnowi, powiodło się Karolowi Miarce. Założony przez niego „Katolik" znalazł od razu szersze koło czytelników, potem zawrzała walka kulturna i dokazała reszty.

Trudna rada, już co się tyczy Górnego Szląska uważać trzeba ks. Bismarcka za dobroczyńcą polskości, bo gdyby nie wywołana przez niego walka kulturna, Bóg wie, jakby dziś u nas wyglądało. Od czasu bowiem, gdy dawniejszą część dyecezyi krakowskiej przyłączono do Wrocławia i gdy duchowieństwo górnoszląskie w Wrocławiu kształcić się musiało, zaczęło się też na dobre germanizować. Duchowieństwo to przejęte było względem rządu ślepą uległością i w tym też duchu wychowywało swe owieczki. Jeszcze przed dwudziestu kilku laty przeciętny Górnoszlązak polski uważałby był opozycyą przeciwko zamiarom i woli rządu, ba! przeciwko najniższemu z najniższych urzędników za bunt przeciwko Bogu. Sławiona przez wielu lojalność ludu szląskiego była niczem innem jak niewolniczą służalczością, po za którą ukrywał starannie gorycz pewną z swego poniżenia wypływającą. Wszystko to walka kulturna od razu zmieniła. Ci, którzy lud w tej służalczości utrwalali, pierwsi teraz, zagrożeni w swej egzystencyi, dali hasło do oporu i poprowadzili sami lud do walki przeciw rządowi.

Aż do roku 1873 wybierano na posłów tak do sejmu jak i do nowego parlamentu niemieckiego w okręgach wyborczych Górnego Szląska przeważnie kandydatów rządowych lub umiarkowanie liberalnych, mianowicie magnatów górnoszląskich. W Raciborskim okręgu dzierżył naprzykład stale mandat do parlamentu Książe raciborski, przyjaciel osobisty cesarza Wilhelma, marszałek izby Panów. Była to osobistość na Górnym Szląsku bardzo popularna i pod każdym względem wybitna, — dla tego poświęcimy jej tu słów kilka. Księstwo raciborskie jest własnością książąt Hohenlohe Corvey, w których posiadanie dostało się przez spadek w początkach bieżącego wieku. Objął je około r. 1840 z tytułem „herzoga" raciborskiego najstarszy z trzech braci, którzy wszyscy zdobyli sobie wysokie stanowiska. Drugi z tych braci jest bowiem dziś kanclerzem rzeszy niemieckiej, a trzeci kardynałem. Książe Wiktor raciborski mówił nieźle po polsku i chętnie się językiem tym odzywał do włościan, zwłaszcza przy sposobności wystaw rólniczych włościańskich, których był protektorem. Lekarz jego przyboczny, Dr. Roger zebrał i wydał najobszerniejszy dotychczas, a niestety mało znany, chociaż prawdziwe skarby w sobie mieszczący zbiór polskich pieśni ludu szląskiego z melodyami, i pierwszy z Niemców przyznał w przedmowie, że język ludu górnoszląskiego jest tym samym językiem, jakim mówi cała Polska. Mimo to nie można twierdzić, że książę Raciborski cieszył się miłością ludu i że wybór jego był wynikiem zaufania, jakie lud do niego żywił. Przeciwnie, lud górnoszląski nienawidził go w skrytości serca tak samo, jak nienawidzi wszystkich innych panów i magnatów, bo jakkolwiek wielu z nich n. p. także książę Pszczyński (Pless) mówi polsku, to całe ich postępowanie, cała administracya ich majątków jest na wskroś niemiecka i germanizatorska. Antagonizm między

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

Wiadomem było, że z początku nawet w jego własnem stronnictwie niezbyt go ceniono: dopiero po pewnym czasie poznano się na nim i oceniono jego energię i bezwzględność jak należało. Wkrótce też dla łatwości przemawiania i wpływania na masy — stał się w partyi swej niezbędnym. Nikt inny nie mógł z tak ciasnym, krótkowzrocznym fanatyzmem napadać na wszystko, co przekraczało ciasny horyzont małych, ociężałych umysłów tłumu, nikt też nie mógł z równą prostotą ducha i wiarą niewzruszoną powtarzać te wszystkie potwarze i oszczerstwa, rzucane na przeciwników. Za to wszystko zaskarbił sobie łaskę swego stronnictwa tak, że występował potem w pismach jako „młody, wiele obiecujący człowiek nauki".

Ten więc „młody, obiecujący człowiek" często przychodził do dr. Pauli za życia żony. Po jej śmierci stały się mniej częste jego wizyty, gdyż doktór nie ukrywał wcale przed nim swej niechęci; było to indywiduum, od którego najlepiej trzymać się zdala, jak sądził. Do tego przyłączył się jeszcze wzgląd inny. Pauli zauważył, że córka jego niepokaźnego tego człowieka pewną obdarzała sympatyą; od dzieciństwa się znali, mówili sobie „ty" i chętnie zawsze przebywali razem.

Sympatya ta mogłaby zmienić się w uczucie żywsze, w miłość, — a temu trzeba było w jakibądź sposób zapobiedz. Ze strachem myślał o tem: mieć za zięcia człowieka, który całkiem poważnie stawia wyżej H. I. Ewalda od I. P. Jacobsena — to hańba, wstyd! Zapewne i w innych dziedzinach był on głupcem skończonym! Stanowczo, nigdy się na to nie zgodzi! Z doświadczenia wiedział, że mówić o tem z Engelką zupełnie byłoby bezcelowem — postanowił więc sam w tej sprawie działać. Odtąd w dysputach swych z Norgaardem nie ustępował z niczem, oponował i zbijał jego zdania z wyższością człowieka rozumnego, mającego przed sobą upartego pedanta; zachowując zawsze niezmieniony spokój i powagę, nie szczędził przeciwnikowi swemu drwin i szyderstw. Rezultatem niuniknionym tego było to, że po pewnym czasie Nörgaard usunął się zupełnie. Jedyny to był sposób załatwienia tej sprawy; niepodobieństwem jednak było poznać, jak zerwanie to przyjęła Engelke. Na pozór niezmieniona, cicha, spokojna, jak zawsze. Niezawodnie i to był tylko kaprys, jak wiele innych rzeczy u niej!

Zostawmy ją w spokoju, — to będzie najlepiej — pomyślał.

Lecz dnia pewnego wieczorem zjawił się Nörgaard niespodzianie. Bergström był jak zwykle obecnym. Wszedłszy do pokoju przywitał wszystkich spokojnem „dobry wieczór", na co obecni zaledwie skinieniem głowy odpowiedzieli; lecz to zdawało się nie robić na nim żadnego wrażenia, jakby nie zauważył nawet chłodnego przyjęcia. Bergström przyglądał mu się z ciekawością; wkrótce jednak rozgniewało go lekceważące zachowanie się wobec niego Nörgaarda, którego każde słowo, ruch każden, świadczyły wyraźnie o tem, że uważa on się tu za bliższego. Niemniej irytować go począł nawpół mentorski sposób mówienia do Engelki. Doktór widocznie był niezadowolonym; od czasu do czasu wtrącał słówko do ogólnej rozmowy, patrząc przytem znacząco na Bergströma. Engelke także niewiele mówiła, była jakby zaniepokojona, na twarzy jej widać było zmieszanie. W końcu Nörgaard sam opanował teren, — głos jego jednostajny przez dłuższy czas napełniał pokój. Lecz i Bergström nie mógł już dłużej milczeć; licząc więc na pomoc doktora, a nie obawiając się wielce tem dotknąć Engelki, przypuścił szturm do przeciwnika swego. Miał on wiele zręcznych argumentów, któremi w dysputach zwykł był się posługiwać.

panem wiejskim lub fabrycznym a chłopem resp. robotnikiem jest na Górnym Szląsku daleko większy, niż gdzieindziej, bo potęguje go różnica języka a częstokroć i wiary. W ogóle, nigdzie pewnie w granicach cesarstwa niemieckiego nie traktowano ludu gorzej, jak do niedawna na Górnym Szląsku. Ci sami Niemcy, którzy bezustannie kładą w uszy polskiego chłopa okrutne baśnie o ucisku ludu w dawnej Polsce, ci sami Niemcy uważali do niedawna górnoszląskich chłopów polskich za helotów i paryasów, za istoty podrzędne, nie zasługujące na żaden szacunek a wcale już nie na uprawnienie. W potocznej mowie nie nazywają oni chłopa polskiego i dziś jeszcze nigdy prawie inaczej, jak „der dumme polnische Bauer“, albo „der polnische Kaffer“, a ta pogarda przeniosła się z biegiem lat na wszystko, co polskie. Ponieważ Niemcy górnoszląscy lub gorsi jeszcze od nich inteligentni renegaci do niedawna nie mieli przeciwko sobie prawie wcale inteligencyi *polskiej*, z którą by się bardziej liczyć byli zniewoleni, przeto też ta pogarda dla wszystkiego, co polskie, zresztą przez wieki całe, jak to już na poprzednio wspomnianym przykładzie o „głupich Maćkach“ wykazaliśmy, uprawiana, zrosła się tak z naturą całej naszej inteligencyi niemieckiej lub zniemczonej, że nawet dobrze wychowany Niemiec na punkcie polskości w rozmowie lub stosunkach z Polakiem mimowoli zadraśnie uczucia jego i dla tego towarzyskie stosunki między Polakami szanującymi swą godność narodową a Niemcem są po dziś dzień jeszcze na Górnym Szląsku prawie wcale niemożliwe.

Więc nie można się dziwić, że w takich warunkach lud szląski Panów swoich nienawidzi. Jeśli zaś ich wybierał na posłów, to wybierał pod presyą chlebodawców i duchowieństwa, które aż do czasów walki kulturnej, jak już powiedzieliśmy, było ultrarządowe i nieraz między sobą w służalczości dla władz i panów patronów formalnie licytowało o lepsze. W takich atoli też warunkach, wobec tak potężnej falangi połączonych przeciwników było wyemancypowanie ludu pod względem społecznym i narodowym rzeczą prawie niemożliwą.

Walka kulturna zmieniła od razu postać rzeczy. Księża, mając, że się tak wyrazimy, nóż na gardle w prawach majowych, zniewoleni zostali do walki przeciwko rządowi, do obrony własnych interesów. Sami naturalnie byli za słabi do oporu, do pokuszenia się o mandaty; z konieczności rzeczy musieli oprzeć się na ludzie polskim, ponieważ magnaci, szlachta i zniemczeni mieszczanie najzupełniej stanęli po stronie rządu. Książę Raciborski naprzykład był jednym z pierwszych „*staatskatolików*“, ojcem sławnego owego adresu „staatskatolików“ do tronu. Starokatolicyzm znalazł między katolicką inteligencyą niemiecką po miastach tylu zwolenników, że księża w miastach tych nieraz z wyjątkiem ludu polskiego i mniejszych rzemieślników nikogo absolutnie nie mieli po swej stronie. Wtedy naturalnie strach wielki padł na „urodzonych przywódzców ludu“, jak sami się nazywają, i wtedy też do „polskich Maćków“ udano się o pomoc. Że zaś do serca i przekonania tych Maćków można było tylko trafić za pomocą języka polskiego i przez okazywanie sympatyi dla narodowości polskiej, więc też pod presyą stosunków Centrum szląskie, wówczas utworzone, wciągnęło do swego programu także obronę języka ojczystego ludu. Na wiecach wyborczych i ludowych używano przeważnie języka polskiego, starano się o kandydatów poselskich, którzyby jako tako chociaż do ludu po polsku przemawiać mogli, a co najważniejsze, skaptowano sobie zupełnie jedyny wówczas na Górnym Szląsku wychodzący organ polski, „Katolika“, wydawanego z trudem i mozołem przez Karola Miarkę, przez udzielenie mu materyalnego poparcia, które bywało bardzo znaczne. A co najciekawsze, że pieniądze na poparcie i rozszerzenie „Katolika“ dawali głównie ludzie, którzy dziś znów są zdeklarowanymi nieprzyjaciołmi ruchu polskiego na Górnym Szląsku, np. ks. ekskanonik *Franz* i hr. *Ballestrem*. Już z tego poznać można, że nie chodziło im wtedy wcale a wcale o polskość, li tylko o obronę praw Kościoła katolickiego i że „*Katolika*“ uważali li tylko za narzędzie do skuteczniejszej obrony. Był to krok zresztą z ich strony bardzo mądry i polityczny, bo od razu zawładnęli budzącym się samodzielnie pod wpływem Miarki i „Katolika“ ruchem polskim i uczynili ruch ten zależnym od siebie. „Katolik“, który z początku był bardziej zabarwiony narodowo, stał się naturalnie w tych stosunkach pismem centrowo-katolickiem, o tyle tylko polskiem, że po polsku drukowanem. Był to również jeden z owych ważnych momentów w dziejach naszych, z których skorzystać należycie nie potrafiliśmy. Zamiast oto przez silne poparcie Miarki i budzącego się ruchu narodowego dać mu pewniejszą podstawę i ruch ten połączyć z ruchem politycznym w Wielkopolsce, pozwolono zagarnąć go Niemcom katolikom i jeszcze hymny pochwalne śpiewano na cześć tych „zacnych“ i „szczerych“ „przyjaciół polskości“. *To ślepe zaufanie do partyi centrum już się kilkakrotnie na nas zemściło, a odbije się na nas zapewne bardziej jeszcze w przyszłości.* Ale wróćmy do wyborów. Otóż skutek zbuntowania się księży przeciwko rządowi był piorunującym. Prawie we wszystkich okręgach górnoszląskich upadli kandydaci rządowi, a zwyciężyli przy pomocy ludu polskiego kandydaci centrowi. Upadł też wtedy i Książę Raciborski we własnym swym okręgu i już mimo wszelkich wysiłków odzyskać go nie zdołał. Dla ludu, niecierpiącego swych panów potrzeba było tylko takiego impulsu ze strony duchowieństwa, aby pokazał swą siłę i w ten chociaż sposób dał im uczuć swą niechęć.

Tak powstało centrum szląskie. Miało ono z początku naturalnym zbiegiem okoliczności tendencyę demokratyczną, później dopiero przez manewry wielu magnatów i panów katolickich i przez przyłączenie się do partyi ogólno-centrowej charakter ten powoli zatracać się zaczął. Była to bądź co bądź anomalia polityczna i jest nią po dziś dzień. Powiedzieliśmy już powyżej, że wszyscy prawie Niemcy górnoszląscy — z wyjątkiem może powiatów głubczyckiego i nyskiego, oraz przeważna część Polaków zniemczonych pozostała wierną rządowi i potworzyła stronnictwa rządowe. Między około 160 tysiącami głosów, oddawanych w przeważnie polskich okręgach wyborczych na kandydatów centrowych, jest co najwyżej 10,000 głosów niemieckich. Centrum *niemieckie* jest więc na Górnym Szląsku de facto skazane na łaskę *polskiego* ludu i zniknie od razu z widowni politycznej, gdy łaskę ludu utraci. Jest to w samej rzeczy czysto *polskie* stronnictwo z *niemiecką* nazwą i niemiecką tendencyą.

Być może, że sprawa nasza byłaby inny obrot wzięła, gdybyśmy byli już wtedy posiadali więcej inteligencyi rodzimej lub gdybyście Wy, bracia Wielkopolanie, liczniej nam byli inteligentnych ludzi nasłali. W braku własnych przywódzców trzeba było ślepo zaufać księżom, którzy naturalnie sami zniemczeni, — o nadaniu szląskiemu stronnictwu centrowemu chociażby *poloru* więcej polskiego ani nie pomyśleli, przeciwnie uważali to nawet wręcz za zdradę swej niemieckości. Znakomicie też przytem strzegli hegemonii swej i podejrzliwem okiem śledzili rozrzucone u nas jednostki inteligencyi polskiej, usuwając je najhaniebniejszemi nieraz sposobami za najmniejsze śmielsze trochę podniesienie głowy.

Dopóki trwała walka kulturna było dla nas pół biedy, boć przywódzcy centrowi, tak świeccy jak i duchowni, już z konieczności bronili praw naszych językowych i jako tako jeszcze obchodzili się z nami. Ale skoro walka kulturna zwalniać zaczęła, skoro rząd przestał uważać centrum za stronnictwo wrogie dla państwa, skoro wciągnął je w zakres swych kombinacyi

---

rozwinął więc teraz akcyą z całą rutyną wprawnego stylisty. Z początku Nörgaard ledwie raczył odpowiadać, potem jednak coraz więcej się rozdrażniał, wreszcie stracił zupełnie równowagę. Tego tylko życzył sobie Bergström, gdyż z chwilą tą miał już zapewnioną przewagę nad przeciwnikiem. Główną siłą jego była spokojna argumentacya, a tego nie posiadał Nörgaard. Rozmowa z początku ogólna, na temat polityki i literatury prowadzona, stawała się coraz więcej osobistą, dzięki Nörgaardowi, który ją ciągle na tory te sprowadzał. Stał się w końcu grubiańskim: krzyczał, używając słów obelżywych, oczy błyszczały złowrogo z za okularów, a twarz jego zazwyczaj brzydka stała się jeszcze szpetniejszą. Bergström przyglądał mu się zdziwiony, nie przypuszczał on, ażeby zwykła dysputa tak mogła wzburzyć człowieka. Wyglądał, jak gdyby szło o życie.

Engelke z twarzą zarumienioną i pałającemi oczyma pilnie śledziła za biegiem dysputy gorącej, a doktór zwyczajem swoim szybko przebiegał pokój, rzucając od czasu do czasu przelotne spojrzenia na mówiących. Spór trwał dość długo; w końcu zakończył go Nörgaard w sposób dziwny, bo urwał nagle w środku jakiejś tyrady. Bergström w poczuciu odniesionego zwycięstwa uczynił jakąś żartobliwą uwagę, na którą Nörgaard nic nie odrzekł. Po chwili zaś powstał z krzesła i pożegnawszy się chłodno z doktorem, wyszedł z pokoju, nie zwróciwszy uwagi najmniejszej na Engelkę i Bergströma.

Pozostali długo jeszcze o nim rozmawiali; zdaniem wszystkich był on straconą ofiarą ciemnego fanatyzmu, który pozbawił go już wszelkich uczuć ludzkich. Engelke siedziała jak zwykle milcząca. lecz w wyrazie jej twarzy spostrzegł Bergström teraz pewien odcień sympatyi, z jaką zwracała się do niego lub na jego odpowiadała pytania.

Wkrótce przekonał się, że nie był w błędzie; nie uciekała już, gdy przychodził, a czasem przesiadywali sami w pokoju, swobodnie z sobą gawędząc. Mówili o książkach, o sztuce, o rozmaitych kwestyach politycznych, religijnych lub społecznych; nie było kwestyi, którejby nie potrącili w czasie tych rozmów. Ona, w róg kanapy wsunięta, z robótką w ręku, siedziała cicha, uważnie słuchając. Słuchała w skupieniu, niekiedy z takim blaskiem w jasnych oczach, jakby wszystkie jego myśli, wszystkie argumenty wchodziły w nią, czyniąc jej duszę myślącą... On zaś chodził najczęściej po pokoju, mówił wiele, śmiał się czasem wesoło, żartował, co dzień szczęśliwszy, co dzień więcej zakochany. Poznawszy ją lepiej, mniej wydała mu się istotą nadziemską, mniej eteryczną, świeższą zato i mędrszą niż sądził poprzednio. Jak się okazało nie była też ona taką głupiutką, bez wszelkich wiadomości dzieweczką, za jaką ją miał; w rzeczywistości więcej rozumiała, więcej uczyła się i umiała, niż przypuszczał, choć nie rozporządzała tem tak wprawnie. Wiadomości jej nie były, jak zauważył, w należytym ze sobą związku.. Wszystkiemu, cokolwiek czytała lub słyszała, nadawała własny swój indywidualny koloryt, wszystko zabarwiała swą radością, podziwem lub też niechęcią i wstrętem: tak więc mieszały się i zlewały wrażenia w duszy jej młodej, wrażliwej, jak kwiat świeżej. Gdy się jej wprost czasem zapytał, co wywołuje jej sympatye, skąd pochodzi jej oburzenie, była zakłopotaną. Wreszcie przyznawała, że nie wie, lub odpowiadała nic nie znaczącemi ogólnikami. W umyśle jej nie uporządkowały się jeszcze jej wiadomości, tak jak to bywa u wyżej rozwiniętych umysłów, które umieszczają wiedzę swą w oddzielnych szufladkach jak w aptece i mogą też bez zwłoki każdą szufladkę zosobna wyciągnąć. Umysł Engelki nie miał jeszcze tego ładu; w duszy jej musiał Bergström szukać dopiero, a nierzadko w pewnym ją zwrócić kierunku, jeśli, zdaniem jego, na błędnej znajdowała się drodze. Z wielką ostrożnością zabierał się do dzieła: najpierw badał dokładnie, jak silne były fundamenta dawnych wierzeń, zanim odważył się je zachwiać. Lecz nie zawsze mu się udawało. Często poznawał po nagłem jej milczeniu, marszczeniu czoła z niezadowolenia, lub po oczach łzami zaszłych, jak dotkliwie uczucia jej zadrasnął. Im bliżej ją jednak poznawał,

politycznych, skoro, przekonawszy się, jaki błąd popełnił, zwłaszcza księży górnoszląskich głaskać i na swoją stronę przeciągać zaczął, zmieniło się od razu postępowanie naszych panów centrowych. Zaczęli oni coraz bardziej stygnąć w swej sympatyi do polskości, język polski coraz bardziej wypędzano z wieców i zebrań, coraz otwarciej zwalczano budzącą się inteligencyą polską; wywołano nawet widmo „wielkopolskiej agitacyi“. Księżom, przeważnie usposobienia niemieckiego i z scharakteryzowaną poprzednio już służalczością, była ta walka kulturna wogóle ogromnie niewygodną, bo pociągała za sobą dużo ofiar osobistych i materyalnych. Więc gdy rząd wyciągnął rękę do zgody, zwłaszcza centrum szląskie chwyciło się jej oburącz, i mało brakowało, że w roku 1893 byłoby przeszło z rozwiniętemi sztandarami do obozu rządowego, — gdyby nie był przeszkodził temu właśnie lud p o l s k i. O tej tedy ważnej chwili pomówię w następnym ostatnim artykule.

Dziś tylko jeszcze zaznaczę, że jedyną korzyścią, ale też bardzo wielką, jaką odnieśliśmy z walki kulturnej było rozbudzenie ludu naszego z indyferentyzmu, w jakim pozostawał. Lud poznał, że obrona praw swoich nie jest jeszcze rewolucyą, — a przedewszystkiem poznał w ł a s n ą s i ł ę.

Stosunki partyjne Czech.

(Ciąg dalszy).

Spór o autentyczność rękopisów wkrótce przybrał charakter prawdziwej walki o wolność krytyki i myśli w ogóle. Młodzi uczeni musieli staczać boje z całym tłumem fanatyków (tak staro jak i młodoczeskich), którzy aczkolwiek przyznawali w głębi duszy słuszność realistom, jednakże uważali za niestosowne zdzieranie maski z falsyfikatów, działających „dla dobrej sprawy“.

Fakt ciekawy, że Realiści, którzy pod względem zapatrywań społecznych są daleko bardziej postępowi niż Młodoczesi, wyszli ze stronnictwa s t a r o c z e s k i e g o i dopiero przed wyborami r. 1891 przyłączyli się do Młodoczechów. Grupa realistów zajęła w klubie młodoczeskim stanowisko całkiem autonomiczne i bardzo dobrze wpływało na całe stanowisko. Jednakże kiedy główny reprezentant grupy realistów, prof. Masaryk zrzekł się (w r. 1895) mandatu, Realiści przestali odgrywać rolę samodzielną w polityce, a dwaj posłowie realiści — Kaizl i Kramarz, — pracują w ścisłym związku ze stronnictwem młodoczeskiem, wyróżniając się na jego szarem tle — dzięki swemu wykształceniu i swej znajomości kwestyi ekonomicznych.

Zrzekłszy się mandatu poselskiego, prof. Mazaryk poświęcił się całkowicie działalności publicystycznej i naukowej, przyczem wpływ jego na obu tych polach jest nader dodatni. Jako rozumny, wszechstronnie wykształcony i wielce utalentowany profesor, dr. Mazaryk cieszy się wielką a całkiem zasłużoną popularnością wśród młodzieży. Jego nadzwyczaj ciekawe wykłady zapoznały młodzież czeską z całym szeregiem kwestyi, o których najmniejszego pojęcia nie miały starsze pokolenia. Omawiając w swych wykładach kwestye najżywotniejsze, prof. Mazaryk zachęcił licznych swych słuchaczów do zajęcia się sprawami społecznemi. W ten sposób prof. Mazaryk przyczynił się do powstania wśród młodzieży t. z. ruchu postępowego, o którym będziemy mówili dalej. Jego działalność publicystyczna spowodowała rewizyę całego programu narodowego Czechów, wyjaśnienie głównych zasad czeskiego życia narodowego. W dziedzinie literackiej pod jego to głównie wpływem powstała cała szkoła krytyków. Organ prof. Masaryka „Nasze Doba“ nie tai się występować przeciwko wszelkiemu fałszowi, chociażby misternie ułożonemu w dźwięczne frazesa patryotyczne. Oba organy Realistów t. j. „Nasze Doba“ i redagowany przez dr. Harbena tygodnik „Czas“ odgrywają bardzo wybitną rolę w życiu umysłowem inteligencyi czeskiej, przyuczając ją myśleć samodzielnie i krytycznie się na wszystko zapatrywać.

Realizm — jak go formułuje sam prob. Masaryk*) nie chce być wyłącznie stronnictwem i tylko stronnictwem; jestto raczej kierunek, metoda. Prof. Masaryk uważa politykę za rzecz nader donośną, ale, nie za główną i jedyną dla narodu. Pierwszą i główną sprawą powinien być wewnętrzny, moralny i kulturalny rozwój społeczeństwa. Życie państwowe i polityczne, to tylko jedna strona żywota duchowego narodu. Życie państwowo polityczne nie ma dla narodów, zwłaszcza drobnych, tego znaczenia, jakie mu się zwykle przypisuje. „Niezależność polityczna nas ani nie zbawi, ani nie zachowa“. Prof. Masaryk wciąż powtarza, że człowiek przedewszystkiem powinien starać się o udoskonalenie moralne, stawać lepszym, humanitarniejszym, a we wszelkiej walce posługiwać się wyłącznie uczciwemi środkami. To ustawiczne przypominanie, że działalność każdego polityka powinna opierać się o zasadę moralną, jest nadzwyczaj doniosłą w Czechach, gdzie fałszywie pojęty nacyonalizm wywiera wpływ nader demoralizujący. W skutek taktyki obecnych kierowników polityki czeskiej, dziś w Czechach z działalności politycznej usuwa się wszelki moment moralny. Demoralizacya ta zapuściła już bardzo głęboko swe korzenie, i obecnie Czech gotów jest usprawiedliwiać najniemoralniejszą taktykę, byleby przynosiła jakąś korzyść narodowi. Wychodząc z zasady humanitaryzmu, prof. Masaryn uważa za główne zadanie inteligencyi pracę na korzyść tych klas, które dotąd były zupełnie lekceważone we wszelkiej robocie kulturalnej. Dać im tylko pewne prawa — tego za mało; powinniśmy myśleć i pracować razem z nimi i dla nich. Realizm żąda rozszerzenia i dopełnienia literackiego, naukowego i filozoficznego wykształcenia, przyczem wiedza powinna stać się dostępną dla jak najszerszych mas ludowych. Wychodząc również z tej samej zasady, prof. Masaryk uważa za niechybne osiągnięcie zgody z ludnością niemiecką Czech, Morawy i Szląska, co da się otrzymać tylko wówczas, kiedy żadna narodowość nie będzie się obawiała o uszczuplenie swych praw t. j. wówczas, kiedy każda narodowość będzie nieograniczonym gospodarzem we wszystkich swych sprawach wewnętrznych.

Rzecz całkiem zrozumiała, że jeśli z jednej strony wśród lepszej części młodzieży czeskiej idee prof. Masaryka spotkały się z wielką sympatyą, to z drugiej strony starsza inteligencya (Staroczesi, Młodoczesi, a przedewszystkiem Klerykali) zachowuje się względem niego wrogo, a w walce z nim ucieka się niekiedy do środków niezbyt czystych. N. p. na wykładach jego siedzą szpiegowie redakcyjni (szczególny gatunek!), którzy go następnie szkalują w pismach (zwłaszcza klerykalnych), czerpiąc materyał do insynuacyi i donosów ze słów przez niego wypowiedzianych. Prasa prowincyonalna, jako też i pisma humorystyczne, usiłują przedstawić prof. Masaryka jako zdrajcę ojczyzny, nienawidzącego wszystko, co święte dla każdego Czecha. „Narodni Listy“ starają się zbyć milczeniem działalność prof. Masaryka. Jest to zresztą zwykła taktyka głównego organu młodoczeskiego, stale używana w celu zabicia niesympatycznych mu prądów.

W ogóle trzeba przyznać, że czeska prasa polityczna ma charakter nader niesympatyczny. Będąc chlebem powszednim całego narodu czeskiego demoralizuje ona szerokie koła swych czytelników. Zajadłe sprawy o drobnostki, oszczerstwa, insynuacye, używanie w polemice środków, nic wspólnego z publicystyką nie mających — oto charakter większości pism

*) W wydanej niedawno pracy „Czeska otazka.“

---

tem więcej utrwalała się w nim pewność, że środki, jakich używał, nie chybiały celu. Tak więc wprowadzał ją powoli w krainę dla niej nową — jemu zaś znaną oddawna; nie posiadał on głębokiej, gruntownej wiedzy, lecz zapał i chęć wyjaśnienia jej nieznanych rzeczy, a także wzrastające zainteresowanie dla samego przedmiotu nadawały słowom jego młodzieńczą świeżość i siłę przekonania. Z uśmiechem podziwiał on sam siebie. Czyż to rzeczywiście możliwe, ażeby on, stary cynik, dla którego nic zgoła świętego nie było pod słońcem — nawet Jerzy Brandes — ażeby on nagle czuł się przejętym kilku staremi dogmatami jak: rzeczpospolita, ateizm, indywidualizm, nadużycia rządu i t. p. i t. p., dla których od lat kilku nie miał nic nad uśmiech politowania? A jednak tak było, a rzecz miała się tak: oto ta mała urocza dzieweczka w najwyższym stopniu go teraz interesowała; i nietylko dla niezwykłego jej uroku, jaki nań wywierała; miał on zarazem instynktowne wrażenie, że on to w rękach swoich duszę jej przeobraża i na swą modłę urabia. A to pogłębiało jego miłość dla niej. Poznał w niej dzieweczkę o głębokich silnych uczuciach — obok niezwykłej, chorobliwej prawie wrażliwości, jaką posiadała. Nie było to jednak w niej przymiotem, jak u wielu innych kobiet, — to raczej cała jej istota, dziewiczość jej duszy. Bez tego byłaby taką, jak wiele innych dziewcząt, tą zaś delikatnością i wrażliwością wyróżniała się z pośród innych. Fantazyę jej osłabiała i paraliżowała bezbarwność życia codziennego — a delikatne uczucia czyniły ją czystą, nieskazitelną jak skrzydła białe gołębia. Myśli jej nie były ani głębokie, ani oryginalne — ale o tak czystym dźwięku, jak ton dzwonu srebrnego. Tak — sądził on — należało ją rozumieć. Tak i na tej tylko drodze mógł wyjaśnić sobie pewne zjawisko, zauważone u niej dnia pewnego. Stała się fanatyczną, zagorzałą. Czyżby on wzniecić miał ten pożar w jej duszy? czyż te pojęcia o obowiązkach względem siebie i innych on miałby wszczepić w jej umysł? Sam siebie zapytywał o to, — pytał i ją, skąd tych pojęć nabrała — rozumie się, że nie zdawała sobie z tego sprawy, że je od niego przejęła. Lecz to właśnie wyjaśniało mu rzecz, a zarazem nowego bodźca dodało jego uczuciu: wkrótce też sam zaraził się jej zapałem rewolucyjnym, a dawniejszy radykalizm młodzieńczy, którego dotąd nigdy tak silnie nie odczuwał — z całą opanował go mocą. Wówczas to stała się owa rzecz dziwna — a jednak tak zrozumiała: zaręczyli się, jak to się zwykło nazywać.

W wzajemnym ich stosunku do siebie nie nastąpiła wielka zmiana; zbliżyli się ku sobie, teraz bowiem nie unikała już osobistych tematów rozmowy. I wtedy wyjaśniła mu sama wiele rzeczy, których zresztą sam przedtem się domyślał. Sympatyą swą dla Nörgaarda przypisywała w pierwszym rzędzie wpływowi wielce pobożnej matki, która go bardzo lubiła, a także pewnemu uczuciu litości, jakiego doznawała zawsze na widok nieszczęsnej jego postaci. Potem przestała go widywać, — miejsce jego zajął Bergström; przyznawała się, że z początku nie lubiła go wcale, bo taki był dziwny, a przytem tak bezwzględne wypowiadał sądy. Wówczas instynktownie więcej wierzyła w poglądy Nörgaarda — lecz od owego ostatniego wieczoru znienawidziła go; nie przypuszczała nigdy, że człowiek ten może być tak głupim i niezręcznym. Od tej chwili niechętnie o nim mówiła, a unikała wszystkiego, co jej przypominało tego niemiłego pana. Tak więc łatwo, bez oporu prawie uległa wpływowi Bergströma, był on przecież jedynym, z którym mogła rozmawiać, — ojca swego zrozumieć nigdy nie mogła. Lecz ona nie myśli już o tem, co było, życie jej dopiero teraz się rozpoczęło.

W zwierzeniach tych, które powoli z niej wydobywał, nie było nic nadzwyczajnego, lecz Bergström był niemi do żywego dotknięty, a więc to niczem więcej nie jest — myślał — jak tylko naturalną reakcyą... Po pierwszych wybuchach uwielbienia, towarzyszącym pierwszym dniom narzeczeństwa, nastąpił teraz u niego zwrot nagły. Nie była ona widocznie ową wyjątkową kobietą, jaką wydawała mu się w początkach, a musiał przyznać, że ten jej fanatyzm począł go niepokoić.

czeskich. N. p. „Hlas Naroda“, organ urzędowy stronnictwa staroczeskiego, widzi główne swe zadanie w polemice z Młodoczechami i to w polemice brukowej, oszczerczej, nie brzydzącej się niekiedy nawet denuncyacyą. Jeszcze dalej idzie w tym kierunku klerykalny „Czech“. „Narodni Listy“ są od nich uczciwsze, ale i ich taktyka daleką jest od doskonałości; pomijamy już to, że są całe kategorye zjawisk, o których „Narodni Listy“ starają się swych czytelników pozbawić wszelkich informacyi, pozwalając sobie na fałszowanie komunikatów ajencyi telegraficznej. Ma to miejsce zwłaszcza wówczas, kiedy zmuszone są mówić o wewnętrznych stosunkach Rosyi.

Jeśli praskie sprawiają na każdym cudzoziemcu wprost wstrętne wrażenie, to już nie ma co mówić o mnóstwie pism, pisemek i świstków prowincyonalnych. Nigdzie nie można spotkać takiej ogromnej liczby uciekinierów z jednego obozu do drugiego, jak w Czechach. Są publicyści, którzy umieją pisać jednocześnie do organów wrogich względem siebie stronnictw. Szkoda, jaką przynosi Czechom prasa, jest bardzo wielka, ponieważ prawie każdy Czech czyta pisma. Jeśli organom Realistów uda się choć w pewnej mierze wpływać na podniesienie poziomu moralnego dziennikarstwa czeskiego, to i to już będzie stanowiło ich ogromną zasługę.

Działalność prof. Masaryka przygotowała grunt dla nowego ruchu wśród młodzieży czeskiej, ruchu, znanego pod nazwą postępowego, a u nas bardzo często zupełnie niesłusznie utożsamianego z głośną „Omladiną“.

III.

Ruch ten powstał w łonie młodoczeskiego odłamu młodzieży uniwersyteckiej, która pod wpływem wykładów prof. Masaryka, jako też dzięki bliższemu zapoznaniu się z literaturą zachodnio-europejską, poczęła zastanawiać się nad zagadnieniami politycznemi, społecznemi i kulturalnemi i chciała wyjaśnić sobie swą przyszłą rolę w społeczeństwie czeskiem. W r. 1889 ukazał się pierwszy organ tej młodzieży „Czasopis czeskeho studentstva“. Początkowo pismo to było dość bezbarwne, a żądania jego ograniczały się na reformie życia młodzieży czeskiej. Redakcya chciała przyczyniać się do tej reformy, wskazując na wady i błędy młodzieży i pomagając jej kształcić się i umoralniać. Jednakże już w roku następnym redakcya oświadcza, że „Czasopis czeskeho studentstva“ ma zapoznawać swych czytelników nietylko z tem, co bezpośrednio odnosi się do życia studenckiego, ale również i z kwestyami polityczno-społecznemi. W towarzystwie „Slavia“ odgrywającem bardzo ważną rolę w życiu młodzieży czeskiej, wytwarza się grupa stronników „Czasopisu czeskeho studentstva“, która niebawem poczyna występować już pod nazwą stronnictwa postępowego.

W r. 1891 przed wyborami do parlamentu grupa ta zwołuje wiec młodzieży, na który stronnictwo młodoczeskie uznało za niezbędne wysłać dwóch członków swego komitetu wykonawczego — dr. Engla i dr. Kuczerę. Młodzież wypowiedziała swe żądania i uchwaliła rezolucyę, domagającą się, ażeby posłowie młodoczescy zajęli w parlamencie stanowisko nawskroś opozycyjne, energicznie żądali wznowienia czeskiego prawa państwowego, weszli w stosunki ściśle z posłami południowo-słowiańskiemi i zawiązali sojusz z t. zw. „partyą ludową“ na Morawie.

W maju r. 1891 w Pradze odbył się zjazd postępowej młodzieży słowiańskiej, na którym został wypracowany przez Czechów, Polaków i Rusinów program polityczny „stronnictwa postępowego“*) Sekcya czeska oświadczyła się za czeskiem prawem państwowem i unią personalną Czech z innemi krajami Austryi.

*) Na zjeździe tym byli obecni delegaci: Czechów (120), Polaków (45), Serbów (26), Chorwatów (22) i Rusinów galicyjskich (16). Byli tam również i tak zwani „Rosyanie z Galicyi“ (4). ale ci ustąpili już na drugi dzień obrad, ponieważ nic wspólnego nie mieli ze zjazdem, który w nader stanowczy sposób zaprotestował przeciwko eksterminazującej polityce Rosyi wobec Polaków i Ukraińców.

Leon Wasilewski.

(Dokończenie nastąpi).

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„Gazeta Gdańska“ donosi, że na petycyą wystosowaną przez Polaków-Gdańszczan do ks. biskupa Rednera, w której prosili, aby jeden z kościołów gdańskich służył nabożeństwom polskim, nadeszła odpowiedź odmowna; również odmowną jest odpowiedź dotycząca ustanowienia w Gdańsku dla Polaków osobnego księdza, któryby co niedzielę odprawiał polskie nabożeństwo W odpowiedzi swej — oczywiście niemieckiej — powiada jeneralny wikaryat, że przez urządzenie głównego nabożeństwa polskiego z polskiem kazaniem i polskiemi śpiewami doznaliby Niemcy-katolicy uszczerbku.

—

„Gazeta Toruńska“ (Nr. 134) donosi:

„W gdańskim „Volksblacie“ znajdujemy następujący inserat: „Jedyna gazeta polsko katolicka, zwalczająca śmiało humbug narodowościowy, jest „Warmiak“, pismo dla duchowieństwa i ludu katolickiego. Stanowisko polityczne: „Centrum“.

Cóż na to powie raciborski „Kuryer“? Czy on także popiera „humbug“ narodowościowy. Nie dała papierowemu „Warmiakowi“ chleba Warmia z Mazurami a więc nie utuczy go i Gdańsk z kosznejdrami.“

—

Wobec antypolskiej działalności szląskiej odnogi spółki H. K. T. zamieszcza „Gazeta Opolska“ (Nr. 47) gromką pobudkę do energicznej obrony zagrożonej sprawy narodowej. „Gazeta Opolska“ kończy swój artykuł w słowach następujących:

„Polacy, teraz nadszedł czas, aby udowodnić, że jesteśmy Polakami, że jesteśmy katolikami, że ani wiary ani mowy sobie wydrzeć nie pozwolimy. Wiarę i mowę od Pana Boga mamy, żadna złość ludzka ani piekielna odczepić nas od nich nie jest w stanie. Nikomu walki nie wypowiedzieliśmy, ale za prawa nasze walczyć będziemy i da Bóg zwyciężymy

Kupujcie u swoich — niech każdy te słowa sobie spamięta, bo kupując od obcych, pomagamy Hakatystom, a własnej sprawie szkodzimy. Mówmy zawsze i jedynie po polsku. w domu, za domem, wszędzie. Skupiajmy się w towarzystwa, oświecajmy jeden drugiego, bo jednością będziemy silni. Pielęgnujmy śpiew polski w kościele i w domu. Rodzice nie zaniechajcie dzieci wasze uczyć czytać i pisać po polsku, bo straszna odpowiedzialność czeka was, jeśli dzieci wasze wyrodne za waszą wiarę i mowę wstydzić się będą“.

—

„Orędownik“ zamieścił w Nr. 137 artykuł p. t. „Znaczenie „Przeglądu Poznańskiego“ w prasie polskiej“. W artykule tym znajdujemy ustęp następujący:

„Utrzymanie takiego pisma jest mojem zdaniem konieczną potrzebą u nas. Wypełnia ono lukę w naszej prasie, której niezapełnienie będzie zawsze anomalią i powodować będzie nienormalny i nieprawidłowy rozwój naszych stosunków. Przedział bowiem między pismami wielkiego formatu, jak je określił ks. dr. Jażdżewski, a pismami zakroju ludowego jest za wielki i wynika także z układu naszych stósunków. Jest więc potrzeba pisma, tygodnika, dla inteligencyi, któryby tejże w odpowiedniej formie i z przybraniem stósownej argumentacyi główne sprawy publiczne przekładał i wyjaśniał. „Przegląd Poznański“ ma zasługę, że przez powstanie swoje skoncentrował około siebie część naszej inteligencyi, która dotąd pracując w rozsypce, wpływu, jaki jej się należy, nie mogła na bieg nawy narodowej wywierać. Redakcyi „Przeglądu“ zaś należy się ta zasługa, że w krótkim czasie umiała dobranemi artykułami nadać kierunek polityczny organowi tejże inteligencyi. Są niedostatki także. ale te przeważają dobre strony pisma.

Znaczenie „Przeglądu Poznańskiego“ dla prasy i społeczeństwa pokazałoby się wtedy naocznie, gdyby go zabrakło“.

—

„Gazeta Grudziądzka“ (Nr. 71) donosi:

„Kuryer Gdański“, który to mniej więcej przed trzema kwartałami, równocześnie z „Gazetą Grudziądzką“ zaczął wychodzić, w przyszłym kwartale już się nie ukaże Mimo to będzie w Gdańsku drugie polskie pismo wychodziło, a mianowicie „Tygodnik Gdański“. O ile byliśmy swego czasu przeciwni założeniu drugiego pisma polskiego w Gdańsku, i to pisma trzy

---

— Boże kochany, wszystko na świecie musi mieć koniec — myślał — odra nie bywa nigdy chorobą chroniczną.

On sam uspokoił się po pierwszym napadzie radykalizmu — a zaprawdę, nie miał się czego wstydzić. Mimo to jednak lubił on bardzo małą swą narzeczoną.

— Jaka ona słodka, jak pełna wdzięku niewysłowionego! — myślał — a jednak dumną jest z narzeczonego swego! znać to po niej.

Szczerze też cieszył się na myśl o weselu mającem odbyć się za kilka miesięcy. Wspólnie układali piękne plany na przyszłość. Bergström z zajęciem jął opisywać dom ich przyszły, który ona urokiem swym opromieniać będzie, a w którym musi być wesoło, swobodnie! Tak, był szczęśliwym, nikt zaprzeczyć nie może.

Dr. Pauli przyjął wiadomość o zaręczynach córki bez najmniejszego zdziwienia; dał też chętnie swoje zezwolenie. Wprawdzie zięć jego przyszły nie był człowiekiem „świetnej przyszłości“ — mais enfin! miał środki, by o nią dbać zupełnie. A zresztą przystojny, miły, był on jednym z tych niewielu, z którym można czasem porozmawiać rozsądnie. Co więcej, niepokojąca go kwestya co do Nörgaarda tymczasem rozwiązaną została, — i to [illegible] warte. Nörgaard od owego wieczoru wcale nie pokazywał się w ich domu, można to było przypisać także jego politycznej działalności, która w ostatnich czasach szczególnie był rozwinął; spodziewano się bowiem codzień rozwiązania parlamentu i rozpisania nowych wyborów. Prawdopodobniejszem jednak było to, że uznał on powrót swój za niemożliwy, a przeto strzepnąwszy proch z nóg swoich, postanowił nie przekraczać nigdy progów tego domu bezbożnego. — Bogu dzięki!

III.

W miesiąc po zaręczynach siedział razu pewnego Bergström w pokoju teścia swego. Był sam: służąca powiedziała mu, że pan z panienką gdzieś poszli.

— Aha! — pomyślał — zapewne wyprawa! — i uśmiechnął się, wyobrażając sobie w myśli małą swą narzeczoną, chodzącą po sklepach i jej zamyśloną twarzyczkę przy wybieraniu towarów.

Teraz siedział i przeglądał pisma leżące na stole; lecz w tych czasach nie miał cierpliwości do czytania, wprost nudziła go literatura.

— Nie pojmuję, jak mogą ludzie pisać o czemś podobnem! — pomyślał i rzucił popędliwym ruchem książkę na stół. — Sądzą zapewne, że świat winien zachwiać się w posadach na wieść, że ich coś boli! Ale cóż robić? Muszą żyć biedne stworzenia!

Wstał z krzesła i parę razy przebiegł pokój, niecierpliwie patrząc co chwila na zegarek.

— Gdzież, u licha, pozostawała tak długo?

Wtem zadzwoniono. Nareszcie! Czemprędzej siadł na bujającym fotelu, plecami ku drzwiom zwrócony, wziął książkę do ręki, udając, że czyta. Cieszył się już naprzód na to, co teraz nastąpi: na palcach wejdzie ona do pokoju... ostrożnie podejdzie do niego, a potem całkiem cichutko szepnie mu do ucha: „buch!“ I na to maleńkie słówko cieszył się już bardzo, uda, że się bardzo przestraszył, będzie więc zadowoloną; jakie to będzie zabawne!

— A jakie ze mnie dziecko! — pomyślał z uśmiechem. — Ot i jest!

Drzwi pokoju otworzyły się zwolna i cicho.

Siedział całkiem spokojnie i słyszał, jak z całą ostrożnością ku niemu podchodziła... teraz już za nim stanęła... a potem?... Nagle poczuł, że fotel się przechyla — w tejże chwili ujrzał nad głową swoją jej uśmiechniętą, jasną twarzyczkę i jednocześnie uczuł jej szybki, krótki pocałunek na swych oczach, — i zdawało mu się, że woń dokoła rozlewa się cudowna, że świeżość i wiosna w sercu jego zapanowały! Wtem puściła fotel, on zerwał się z krzesła — książka upadła na podłogę!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

razy na tydzień wychodzącego, które musiało słusznie uchodzić za pismo mające „Gazecie Gdańskiej“ wytworzyć konkurencyą, o tyle nie jesteśmy wcale przeciwni temu, aby wychodziło drugie pismo polskie, raz tylko na tydzień wychodzące. Jesteśmy nawet najmocniej przekonani, że i „Gazeta Gdańska“, jako najwięcej w tem interesowana, temu się sprzeciwiać nie będzie. Taki dobrze redagowany „Tygodnik“ mógłby nawet społeczeństwu naszemu oddać niemałe usługi. Wiemy bowiem doskonale, że dużo jeszcze jest takich, a mianowicie pomiędzy ludem, pod panami niemieckimi pracującym, którzy rzeczywiście nie mają na to, aby sobie módz zapisać gazetę, która kosztuje 1 mrk., lub też 25 fen., a którzy mimo to, radziby też gazetkę przeczytać, choćby tylko w niedzielę. Dla tych ludzi byłby taki n. p. „Tygodnik Gdański“, bardzo odpowiednim. W ten sposób zyskałoby też dziennikarstwo znowu pewną liczbę nowych czytelników, a przecież na tem powinno nam zależeć, aby coraz więcej ludu czytało i aby mianowicie też najbiedniejsi mogli się oświecać za pomocą taniej gazetki. To też musimy rozpowszechnianie „Tygodnika Gdańskiego“ pomiędzy tą właśnie ludnością wszystkim ludziom dobrej woli gorąco zalecać“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ panslawistów austryackich, wychodzący w Wiedniu codziennie „Parlamentär“ także poświęca refleksye wartości moralnej dzisiejszej polityki rządów europejskich:

„Trzy zasady tworzyły w początkach naszego stulecia fundament t. zw. wysokiej polityki. Pierwszą była zasada legitymizmu. Czem stała się dzisiaj? Podeptano ją i pogrzebano pod gruzami tronów wypędzonych książąt włoskich i niemieckich, rządząc się zasadą mocniejszego.

„Drugą była nietykalność traktatów. Zawierano je na czasy wieczyste, a dziś one nikogo nie zobowięzują. Traktaty na to tylko się zawierają, ażeby umowy obowięzujące łamać.

„Trzecią było przyrzeczenie wspierania się wzajemnego w walce z żywiołami wywrotu i rewolucyą. Czy atoli zasadzie tej pozostały rządy wierne. Dość przypominać sojusz Bismarcka z Madziarami w roku 1866, w którym Bismarck wzywał do rewolucyi...

„Wynika ztąd, iż owe trzy zasadnicze punkta wysokiej polityki dziś nie istnieją, że dziś innemi rządzi się ona zasadami. Wiele się teraz mówi o zasadzie narodowościowej, ale zasada ta dowolnie bywa naruszaną. O częstokroć podnoszonej tendencyi wysokiej polityki utrzymania pokoju nie warto nawet mówić, bo w nią nikt nie uwierzy.

„Obecna polityka rządów nie ma żadnych zasad, żyje ona z dnia na dzień. To jedno tylko można o niej powiedzieć, do czego się Bismarck przyznał, że zasadą jej siła przed prawem...“

* * *

Serbski „Dneyni List“ takie zawodzi żale z powodu mniemanej zgnilizny inteligencyi serbskiej w królestwie serbskiem:

„Karadjordje Miłosz, wojewoda, Hajduk Veljki i inni junacy z doby walki o oswobodzenie Serbii, byli ludzie, nie umiejący czytać i pisać, jak i społeczeństwo, z którego wyszli. Szkoła w nich nie kształciła charakterów, nie uczyła ich miłości ojczyzny, nie posiadali oni żadnych wiadomości, których dziś nabywa każde pachole serbskie, ale mieli charakter i dusze wznioślejsze, serca i umysły szlachetniejsze, aniżeli cała ta gawiedź uczonych, mężów stanu, dziś w Serbii gospodarzących.

„Ku hańbie serbskiej szkoły i serbskiej inteligencyi trzeba przyznać, że kraj nasz był szczęśliwszy, ludzie lepsi i bardziej postępowi (sic!) dopóki losami jego nie rządzili ludzie uczeni.

„W Serbii podniosło się szkolnictwo, wzmogła się oświata, ale jaki nastąpił upadek moralności, o ile dziś więcej niedołęgów moralnych i nikczemności!

„Serbska młódź w szkołach nie odbiera wychowania, ale wychodzi z nich zatruta na ciele i duszy, z bogactwem wiedzy, ale bez charakteru i upadła na duchu. Nasi urzędnicy są niewolnikami, wobec przełożonego tyranami dla podwładnych.

„Zgnilizna nie trzyma się samej inteligencyi, ale przenosi się zwolna na cały naród.

„Charakter jest u nas prześladowanym, patryotyzmu odmawia jedno stronnictwo drugiemu, cześć, przekonania — wszystko staje się przedajnem!!!

D. K.



Kwestya małżeńska.

Co począć ze staremi pannami? Zaledwiem napisał to zdanie, gdy z głębi wyobraźni mojej wyłania się posępny widok: spostrzegam zorane bruzdami „Kumy troski“ czoła ojców, załamywane w rozpaczy ręce matek i smętne twarze „siedzących na koszu“ córek. Piersi ich ściśnięte nietylko gorsetem, lecz i beznadziejnym bólem: wszak brak im tego, co stanowi najelementarniejszą prawie potrzebę istoty kobiecej — miłości.

Ileż więc prawdziwej zgrozy zawiera w sobie fakt, że w warstwach średnich — idzie nam przedewszystkiem o Niemcy — ilość kobiet, hołdujących z musu celibatowi, rośnie z każdym rokiem. Są to istoty, wyrzucane z po za stołu uczty miłosnej na bruk prozaicznej egzystencyi, pełnej walki o byt. Uginając się pod ciężkim krzyżem staropanieństwa i dając tylko od czasu do czasu ujście wypełniającej ich serce żółci, kroczą one z rezygnacyą i wyniosłem czołem, obsypywane gradem szyderstw i kpinek.

Staropanieństwo jest w ostatecznej instancyi wynikiem walki o byt, podniesionej we współczesnych społeczeństwach do wyższej potęgi i przejawiającej się w najrozmaitszych formach. Do takich wniosków doszedł prof. Haushofer, który poświęcił przed kilku miesiącami kwestyi małżeńskiej książeczkę pod tytułem: „Die Ehefrage im Deutschen Reich“. Obecnie istnieje już trzecie jej wydanie. O tem właśnie dziełku chcieliśmy pomówić. „Kto rozwiąże kwestyę małżeńską — mówi autor — t. j. potrafi w odpowiednim wieku wydać zamąż wszystkie kobiety, ten rozstrzygnie w przeważnej części kwestyę pracy kobiecej“. Dotyczy to przedewszystkiem warstw średnich i to sfer inteligentnych, gdyż tu właśnie najczęściej padają kobiety ofiarą staropanieństwa. Klasy bogate są zabezpieczone prawie zupełnie od tej klęski; w warstwach zaś ubogich małżeństwo napotyka jak najmniej przeszkód natury materyalnej. Kozłem ofiarnym przeto bywa inteligentna panna z warstw średniozamożnych. To powinno naprowadzać nas na myśl, iż działają tu w silnym stopniu czynniki majątkowe, ekonomiczne. Wchodzi tu w grę nietyle zupełna niemożliwość zawarcia małżeństwa, ile trudność urządzenia sobie gniazda rodzinnego, odpowiednio do stanowiska społecznego. Da się wprawdzie zauważyć i pewne absolutne „przeludnienie“ wśród kobiet, pewna liczebna przewaga kandydatek do hymenu nad aspirantami do stanu małżeńskiego. Statystyka Niemiec stwierdza to w zupełności. Jeżeli weźmiemy ogół kobiet starszych nad lat 16 i ilość mężczyzn w tym samym wieku, to po tamtej stronie otrzymamy przewyżkę, wynoszącą około trzy miliony. Przewyżkę tę należy nawet nieco powiększyć, wskutek tego, iż wielu mężczyzn w dojrzałym wieku jest zmuszonych warunkami

Z dziennika wykolejonej.

II.

Jest mi z naturą moją niewygodnie. Filisterskie to słówko: wygoda! prawda? Ale co powiedzielibyście temu, co radziłby nie rozstawać się nigdy z ubraniem tak szerokiem, że zaczepia o wszystkie kanty. Ja swoje znosić jednak trzeba, bo gdzie szukać owego mistrza sztuki krawieckiej, któryby je odpowiednio okroił. Jest wprawdzie jeden — świat, ale ten przystępuje znów do dzieła z tak groźnemi nożycami, że mimowoli za potęgę wrogą, nie dobroczynną, uważać go muszę.

Trzeba się przed tem narzędziem ostrem bronić — a najlepiej byłoby odpłacić zamachem podobnym i świat do siebie przystosować. Dzieło takie nie udało się trwale żadnemu dotąd reformatorowi, a cóż mówić o kobiecie, która sama siebie nazywa wykolejoną, a więc z własną naturą dojść ładu nie może. Walka zużyje, wyczerpie, wyciśnie krew i siły, pozostawiając automat z przytępioną wrażliwością, zdolny tylko poruszać się mechanicznie, bez pomysłów, bez inicyatywy.

Pocóż więc walkę rozpoczynać? lepiej z góry zapowiedzieć swoją bezsilność i odnaleść sobie kącik, stanowisko w obec świata i życia, które byłoby przynajmniej — znośnem.

Czy warto się o to ubiegać? Stanowczo tak, życie złe czy dobre jest bardzo ciekawem: wiecznie młode, piękne, ruchliwe, kryje w swem łonie niespodzianki, któremi obdzielić potrafi setki i miliony takich jak moja egzystencyi.

Życie przedstawia mi się niekiedy jak pole walk i zapasów; gdzieś z daleka odzywa się trąbka bojowa, czasem huknie brutalny bęben, ogłaszający zwycięstwo, można tam skakać, pełzać, ale najtrudniej spokojnie chodzić, bo oto na owej ziemi zroszonej krwią, potem i łzami, leżą polegli lub dogorywający słabi, maluczcy, a przedewszystkiem nie przystosowani. Wrzała tu walka o marny, często wyschnięty kawałek chleba, walka o ideały, przekonania, o własną indywidualność — słowem walka o byt w najszerszem znaczeniu tego wyrazu. To nie pojedynek słabych i silnych, z którego silni, a więc lepsi, dzielniejsi wychodzą zwycięsko, podtrzymując rasę, oczyszczając teren z mniej udanych okazów! — Najgorsi nie zawsze giną, a kto wie, czy nie grozi zagłada najlepszym. Pierwsi mają konsekwencyą w złem, śmiałość i chytrość, ostatni zbyt wysoko ponad otoczenie wyrośli, aby z niem wejść w układy. Brutalne życie zaś najczęściej zmiata tych, co mu żadnych koncesyi ze swojego ja czynić nie chcą. Jest to smutny dobór naturalny, sprzyjający czasem łotrom, a zawsze miernotom...

Z poza tego ponurego obrazu uśmiecha się przecież niekiedy inny. Czasem o szarej godzinie, albo w nocy, gdy księżyc ciekawie zagląda przez szpary, wszystko dokoła uśpione, mnie w półśnie, półjawie przedstawia się cudowna szmaragdowa łąka. Snują się po niej jasne smugi światła, lekki wietrzyk porusza źdźbła trawy, a tyle kwiatów przechyla kielichy, że oprzeć się nie mogę pokusie błądzenia po niej z celem czy bez celu, z tem coraz wyraźniejszem życzeniem, aby nigdy nie dojść do końca. Więc choć natrafisz niekiedy na kolący cierń, choć nogę przytrzyma ci grzeskie bagno, choć łeb wychyli jadowita żmija, a nieustannie opędzać się trzeba od stada natrętnych komarów, — obejmuję miłosnem spojrzeniem tę przestrzeń szmaragdową, wśród której tyle słonecznych wrażeń doznać można. To życie, odczuwane może po marzycielsku, które dostraja się do natury i w którem subtelna wrażliwość jednostki chwyta wszystkie światła i cienie.

I w jednym i w drugim obrazie jest trochę prawdy. Życie to przedewszystkiem odczuwanie wrażeń: gdy jednostka spojrzy dokoła, dostrzeże walkę, odczuje ją tem silniej, im żywiej w niej weźmie udział; skoro zechce żyć samotną, gdy potrafi z góry, bezinteresownie spoglądać na owe zapasy, zapomnieć o własnem wśród nich stanowisku, dozna przedewszystkiem rozkoszy estetycznych, a te ją nieco z życiem pogodzą. W chwilach trzeźwości przecież, bo i takie przychodzą, widzę, że życie to szachownica. Szczytów wysokich na nich mało, a gdy się jaki pojawi, to mimowoli ludzkość chyli przed nim głowę i nazywa królową, a więc władczą, geniuszem, któremu wszystko zburzyć i zmienić wolno, dla którego moralność

swego zawodu do tułania się po obcych krajach. Istnieje jeszcze inny ważny symptomat uciążliwości zawierania małżeństw. Zarówno mężczyźni, jak kobiety tworzą stadła małżeńskie w coraz późniejszym wieku. Mężczyźni żenią się w Niemczech później, niż w Anglii, Rosyi i Włoszech. Koło potrzeb ludzkich rozszerza się a stopa życiowa podnosi, tak iż każdy mieszkaniec miasta zwleka dziś jak najdłużej z faktem zaprzęgnięcia się do jarzma małżeńskiego a często nawet odkłada go ad calendas graecas. Czegóż się tu dziwić? Wszak młodemu człowiekowi w wielkiem mieście nie zbywa na niczem. W każdej chwili może on dostać wszystko, czego łaknie dusza i ciało jego. Gdyby nawet potrzebował towarzyszki dla wymiany myśli i duchowego obcowania, to upragnionej Aspazyi dostarczy mu za umiarkowane wynagrodzenie „Heiraths-Zeitung“. Podaje się ogłoszenie następującej treści: „Młody człowiek, o takich a takich kwalifikacyach, poszukuje znajomości z kobietą oczytaną, towarzyską, miłą, dowcipną itd.“ — i wnet nadejdzie ofert co niemiara.

Sprawa ta przedstawia się nieco odmiennie dla młodej, niezamężnej kobiety. To też — jak słusznie zauważa prof. Haushofer — kobieta gotowa jest w każdej chwili porzucić swój zawód, gdy trafia się jej jakaś okazya schronienia pod skrzydła hymenu. Często obiera ona sobie zawód (chociażby bezwiednie) jedynie po to, by utorować sobie drogę do małżeństwa, by stykać się częściej z mężczyznami, poznawać ich i dać się samej poznać. Jestto z pewnością praktyczniej, niż więdnąc w cieplarnianej atmosferze czułej opieki rodzicielskiej, oczekiwać królewicza, który przybędzie w noc księżycową, by porwać znudzoną pannę i uwieźć ją na białym koniu w krainę szczęścia i marzeń. Średnie warstwy pozbyły się już brzydkiego zwyczaju wychowywania kobiet na laleczki salonowe: jestto luksusowy produkt, niemający już zbytu w niemieckich średnich warstwach. „La vie n'est pas un roman“ staje się artykułem wiary każdej przeciętnie inteligentnej, niezamożnej lub średniozamożnej panny. Doświadczenie przekonywa ją w dodatku, iż te panny z „Mittelstandu“, które nie obrały sobie chlebodajnego zawodu, mają najwięcej widoków na wejście w skład rezerwowej armii staropanieńskiej. Pozbawienie niektórych kobiet tych praw, które przysługują każdej ludzkiej istocie, można byłoby nazwać stanem nienormalnym, gdyby niestety ten porządek rzeczy nie otrzymał już prawa obywatelstwa w zachodniej Europie w ogólności a w Niemczech w szczególności.

Skutki, rozumie się, są bardzo opłakane. Występują one przedewszystkiem na polu gospodarczem. Dla bardzo sporej grupy kobiet jeszcze dziś małżeństwo jest kwestyą życia, jest prawie karyerą. Wszystkie dążności niewiasty, wszystkie jej myśli i uczucia schodzą się w jednym punkcie, jak w ognisku, w którem ukazuje się obraz przyszłego małżonka. Lecz obraz ten staje się często mglistym, przyćmionym; prawdopodobieństwo siwego warkocza rośnie; wtedy jest kobieta zmuszoną wejść w życie i zażądać pracy. Nowoczesny rozwój ekonomiczny z jego misternem rozgałęzieniem podziału pracy otwiera obszerne pole dla pracy kobiecej. A ponieważ bezprawna i bezbronna kobieta, stojąca nieraz sama jedna w życiu, jak kołek w płocie i szukająca jak łaski chleba, sprzedaje swą pracę taniej, niż mężczyzna, to oczywiście w wielu gałęziach musi on ustąpić swego miejsca białogłowie. Życie dla mężczyzny staje się cięższem a małżeństwo staje się dla wielu niedoścignionem marzeniem. To, co było skutkiem, staje się teraz przyczyną: życie zniewala kobiety do przyjmowania udziału w życiu ekonomicznem, to zaś znowu przymyka coraz szczelniej furtkę do małżeństwa. I oto dla wielu wstęp do raju małżeńskiego zostaje wzbronionym, gdyż u wejścia jego staje w postaci warunków ekonomicznych anioł z wyciągniętym mieczem w ręku...

Wprawdzie Haushofer nazywa nasz okres przejściowym: ma to być most, prowadzący nas w epokę zupełnej emancypacyi kobiety. Kiedyś i ona może wyjdzie z dzisiejszej Scylli i Charybdy, z wiru sprzeczności, cechujących nasze życie; może i ona, znajdująca się dziś pomiędzy kowadłem potrzeb swego ducha i ciała a młotem społecznych warunków, stanie się kiedyś wolną istotą. Mężczyźni przez sam egoizm powinni sobie gorąco życzyć możliwie prędkiego nastania tych błogich czasów, gdy kobieta wreszcie przestanie być niewolnicą (w Niemczech pozostała nią po dziś dzień!); wtedy może miłość będzie uboższą w zawody i bogatszą w rozkosze.

Na polu przemysłowem zagarnia kobieta coraz obszerniejsze terytoryum. Czy działalność ta może skazanym na staropanieństwo kobietom zastąpić męża i rodzinę, czy może zaspokoić te gwałtowne uczucia i instynkty, które potrzebują życia familijnego? Gdy zaczynają się buntować uciskane pierwiastki duszy, gdy podnoszą głowę i domagają się swych praw, czy wystarcza dla stłumienia tego rokoszu przywołać legiony tak mało mówiących sercu logicznych argumentów i abstrakcyjnych etycznych postulatów? Wszystkie te kwestye muszą tu pozostać bez odpowiedzi, jakkolwiek wypełniają jedną z najciekawszych kart naszego społecznego życia. Daje się w Niemczech zauważyć, zdaniem Haushofera, jeszcze jedna okoliczność, nakazująca kobiecie celibat.

W ostatnich czasach nieruchliwe i ograniczone Niemki zaczęły się budzić z letargu umysłowego. Kobieta zaś, która się wspięła nieco na wyżyny wiedzy, niechętnie zamieni tę pozycyę na rolę kucharki i służącej. Mogłoby nieco osłodzić gorycz kłopotów gospodyni używanie życia w donioślejszem słowa znaczeniu, lecz takie rozszerzenie skali wymagań zniechęca i odstrasza mężczyzn. Ktoś z obozu kruszących kopie o tradycyę mógłby powiedzieć, iż kobieta, która w rodzinie piastuje godność kucharki i niańki, nie nadając wagi swemu wykształceniu, zasługuje przecież na większy szacunek, niż wysoce wykształcona zwolenniczka celibatu w salonie. Na to odpowiada prof. Haushofer, iż matka rodziny nie powinna bynajmniej dostąpić większych zaszczytów, niż kobieta, która nie miała szczęścia pozostać czyjąś małżonką. Społeczeństwo posiada dzieci, Bogu dzięki, dosyć; płodzenie dzieci w naszych czasach nie jest żadną zasługą. Musimy się przyzwyczaić do tej myśli, iż pomiędzy mężczyzną a kobietą wytwarza się trzecia płeć, pracujących starych panien.

„Stara panna jest to istota — mówi Haushofer — która z rezygnacyą podejmuje swe zadanie życiowe, przejęta świadomością, iż oczekuje ją więcej obowiązków, niż radości i że samotność po wieloletniej ciężkiej pracy będzie zakończeniem jej żywota“. Społeczeństwo powinno czcić jej odwagę i samopoświęcenie. Zamężne zaś kobiety niech przestaną przy spotkaniu z temi upośledzonemi istotami zadzierać głowę do góry! Opinia publiczna, która wiele zgrzeszyła przeciwko tym nieszczęśliwym kobietom, powinna stać się wreszcie sprawiedliwszą i nie odmawiać niezamężnej kobiecie prawa do miłości. „Wszak jest to oburzające okrucieństwo żądać, by kobieta, która do 30-go roku życia nie mogła wstąpić w związek małżeński, nie spaliła na ołtarzu miłości ani jednej ofiary!“

Cała książeczka profesora tchnie wielkim optymizmem i przejęta jest współczuciem dla traktowanych po macoszemu przez społeczeństwo kapłanek celibatu. Zmiany nawet w naszem postępowaniu nie złagodzą w drobnej części jej moralnych i po części fizycznych katuszy; nic nie wróci jej zmarnowanych mło-

---

i jej przepisy nie istnieją. Dokoła tych rzadkich a tak niebezpiecznych wyniosłości występują naprzemian pagórki i zagłębienia, gdzieniegdzie bije ożywczy strumień, a raczej mało gdzie strumienia takiego nie ma, trzeba tylko uderzyć w skałę, aby wytrysnął. Kto nie umie znaleść zaczarowanej laski, ten go nie wywoła, kto nie potrafi patrzeć, zginie dlań całe bogactwo barw i cała piękność krajobrazów.

W takich chwilach, gdy oczu nie zasłania żadne złudzenie, gdy fala krwi, napływająca do mózgu nie mąci jasności spojrzenia, w chwilach szczęśliwych, bo spokojnych, myślę nad tem, jakie stanowisko zająć w obec świata i ludzi. Nie chodzi o to, jakie zajmuję lub zajmować będę w istocie. bo zapominać nie trzeba, że panem tu wszechwładny przypadek, ale jakie zajęćbym chciała, które z możliwych właściwie jest mojem stanowiskiem, a więc wypływa z zasadniczych instynktów mojej istoty.

Kobiety występują najczęściej w postaci cichych działaczów albo — ofiar.

Działalność ta nie potrzebuje być szeroką, społecznie głośną, jest to poprostu krzątanie się mrówki, która czynny udział wziąć musi w tem, co się dzieje w mrowisku. Po większej części to je zadawalnia, choć terytoyum ciasne, choć ścierają się na niem tysiączne egoizmy, choć ich własny, osobisty lub familijny egoizm przybrać przytem musi kanty i rozrosnąć się tak, by poza nim na szersze uczucia i myśli nie pozostało już wcale miejsca.

Gdy ziarnko grochu, rzucone przez jednostkę w życiowej rulecie, nie trafi na punkt właściwy, gdy czują się niezrozumiane, nieocenione, gdy wlec muszą życie bez współczucia i wyrzec się ram właściwych, wtedy pozostaje druga rola — ofiary. Wówczas do ust ich przyrasta bolesny uśmiech, na czole osiada smutek i rezygnacya, a cała postać, całe ja cofa się w głąb i usuwa w cień.

Takie ofiary spotykamy na wszelkich stanowiskach życiowych. Są niemi stare lub starzejące się panny, które los nielitościwy wykluczył ze wspólnego większości kobiet zadania żony i matki, są wdowy, opłakujące po lat 15 i 20 zgon małżonka, który stanowił właściwie o racyi ich bytu w społeczeństwie, są wreszcie i mężatki, które w małżeństwie nie znalazły tego, czego szukały, a nie potrafią pogodzić się z tem. co stanowisko zajmowane dać im może.

Rola czynna — to nie moje miejsce; umiem pracować, umiem się ruszać, działać, zelektryzować czasem całe otoczenie, ale wejść w raz określoną kolej i wcale już z niej nie zbaczać, — ale borykać się codziennie z drobnemi przykrościomi, powtarzać wciąż te same ruchy i słowa w tym tylko. celu, aby to mrowisko wyglądało tak, jakbym je mieć pragnęła... czyż to zadanie dla wykolejonej? Ona nie jest taką, jakby być powinna, ale jest kimś i zapomnieć o tem swojem ja, aby stwarzać drobiazgi, kręcić się jak kółko maszyny — nie potrafi.

Może to źle, ale inaczej być nie może! Przed rolą ofiary wzdryga się cała moja natura. Nie jest mi na świecie dobrze; może nawet więcej przykrych niż przyjemnych doznaję wrażeń, ale być ofiarą, a więc i czuć się ofiarą i na nią wyglądać,... nie! Potrzebaby tu pozy, a więc czegoś, co jest sztuczne i patetyczne. Nie znam nic śmieszniejszego nad zakrzepłą patetyczność! Wszak jestem kawałkiem natury, czuję w każdym nerwie moją przynależność do tej wielkiej całości, która mnie otacza. Taki ciągły ruch, zmiany, życie, a ja miałabym skostnieć w pewnej postaci! I dla czego? czy dla tego, że natura uczyniła mnie odrębną od innych, czy że świat takim być nie chce, jakim jabym go widzieć pragnęła? Ha, to jeszcze pytanie, kto ma racyę, on, czy ja?...

Pozostaje przecież jeszcze jedno miejsce turysty i — badacza, który podobne do pierwszego zajmuje stanowisko, ale wrażenia zbiera, — nietyle dla nasycenia się niemi, ile dla wyprowadzenia wniosków ogólnych. Nie gorszy to, choć może przez społeczny prąd naszego wieku potępiony kąt widzenia.

Turysta w życiu?... To duch niespokojny i ciekawy, trawiony właściwą nowoczesnemu człowiekowi gorączką poznania. Przerzuca się on z kraju do kraju, zwiedza coraz nowe miasta, obracać się pragnie w coraz innych kołach, poznawać nowych ludzi, nowe prądy, zaznajamiać z pomnikami sztuki, z zabytkami czasów dawnych, z wartkiem życiem umysłowem współczesnych, A więc to jakieś połączenie

dych lat, spędzonych w ciągłych troskach i w oczekiwaniu „jego“; nic nie wyjmie jej piołunu z serca i nie wyleczy jej ran.

Spór o Morskie Oko.

(Dokończenie.)

W czasie, kiedy Stefan Batory nadawał sołtysom przywilej do obszaru na Białce, który należał do Polski, o pewne terytorya takowego za Białką toczył się spór między właścicielami węgierskiej wsi Uj-Bela a właścicielem Niedzicy, którym byli naonczas (1528—1589) Hieronim i syn jego Olbracht Łaski. Jak wiadomo, Łascy otrzymali od Jana Zapolyi dobra Spiskie na Węgrzech, ale z powodu swej rozrzutności i trudności administrowania, nie mogąc się przy nich utrzymać, odstąpili takowe (1589) magnatowi węgierskiemu, Jerzemu Horwathowi de Palocsa, protoplaście rodu Polohayów, dzierżącego te ziemie do połowy wieku bieżącego, Nowonabywca, korzystając z uroszczeń właścicieli Niedzicy w czasie zajęcia Spiżu przez wojska Maksymiliana, śpieszącego z objęciem tronu do Krakowa, zagarnął sporne parcele i tym sposobem szeregiem samowoli dał początek niezliczonej liczbie skarg i procesów. Nie możemy tutaj wdawać się w obciążające pamięć szczegóły długich zatargów, powiemy tylko tyle, iż prywatny zabór Palocsayów, zmusił oba państwa do przedsięwzięcia środków zaradczych, ku czemu obu rządom odpowiednią wydawała się komisya graniczna; na nieszczęście, począwszy od 1625 r. kilkakrotnie zjeżdżała komisya polska, ale panowie madziarscy umieli jej unikać i tym sposobem wszelkie środki przedsięwzięte do sprostowania granicy udaremnione zostały. Niemniej jednak, jak są ślady, musiano wynaleźć jakieś modus vivendi między stronami prywatnemi i nastąpiło to przez rozseparowanie gruntów po tamtej stronie Białki do właścicieli węgierskich a po tej do polskich. Takim sposobem Białka uznaną została (lubo prywatnie) za rodzaj granicy, co zdają się potwierdzać późniejsze przywileje królów, nadające ziemie i pastwiska poddanym polskim. Tak n. p. przechował się do dziś dnia w rękach sołtysów z Białki przywilej Władysława IV. z 20 czerwca 1637 r., nadający Wojciechowi Nowobilskiemu prawo pasania bydła przy obszarze Rybiego Stawu, to jest na przyległej doń hali. Jest to niemały dowód, iż ów Rybi Staw (inaczej Polski Staw, od XVII. wieku Morskie Oko) leżał w granicach państwa a w osiemnastym wieku rozsławiony został przez geografów i coraz liczniejszych podróżników. Rzączyński, pisząc w 1721 r., wspomina o nim bardzo szczegółowo, jako o jednym z cudów przyrody a też samo z wielkiemi szczegółami czyni ks. B. Chmielowski; tymczasem Csiba, Beliusz, Bruchmann, wszyscy piszący przed 1740 rokiem autorzy węgierscy i bardzo szczegółowo opisujący góry swego kraju a głównie komitatu Spiskiego nic o Rybim ani Polskim Stawie, ani Morskiem Oku nie wspominają; widocznie uważali je jako po za granicami Węgier leżące; tylko jeden Jakób Buchholtz z Keszmarku w opisie Karpat 1751 roku wymienia „grosser polnischer Fischsee“, jako przeciwstawienie węgierskiego Rybiego Stawu, zkąd wypływa Poprad i zwanego też Popradzkim.

To też mimo nieustalenia granicy przez władze polityczne, mimo cząstkowego tylko zagadnienia wynikłych sporów sąsiedzkich, do końca niemal zeszłego wieku nie istniał wcale spór o Morskie Oko. Dr. Czołowski bardzo skrupulatnie zestawia dowody już to dodatnie, czyli bezpośrednie, już pośrednie na to, iż do 1769 nikt się po stronie węgierskiej, ani polskiej nie zajmował temi okolicami a mieszkańcy bezspornie i bez przeszkody wykonywali swoje prawa tak ekonomiczne jak i polityczne. Tak np. w 1755 r. doszedł do skutku jeden z bardzo niewielu zjazdów granicznych skutkiem osobistego żądania Maryi Józefy, stryjecznej siostry cesarzowej Maryi Teresy; tej komisyi, która również niedoprowadziła do żadnych pozytywnych rezultatów, przedstawionym został ze strony węgierskiej całkowity wykaz pretensyi o naruszenie granic węgierskich ze strony polskiej — ale w spisie tym nie ma żadnej wzmianki o Morskiem Oku i obszarach dziś w sporze będących, mimo, iż nie pominięto tam daleko mniejszych kompleksów. Słusznie więc utrzymuje dr. Czołowski, iż spór o Morskie Oko nie istniał przed 1772 rokiem, że obecnej granicy nikt nie kwestyonował, gdyż sięgała ona dalej w Węgry, jeżeli nie uznana, to na mocy miejscowych zwyczajów i praw wykonywanych bezspornie.

Zkądże więc — raz jeszcze trzeba zapytać — powstał Spór o Morskie Oko? Na to odpowiada autor kategorycznie z dowodami w ręku. W 1769 r. wzdłuż całej granicy polskiej, Mołdawii i Multan, ustawiła Austrya kordon wojskowy, celem niedopuszczenia na swe terytoryum oddziałów stron walczących, oraz morowej zarazy, grasującej na podgórzu karpackiem. Dowódcom wojsk cesarskich zalecono „najściślejszą neutralność“, dla usunięcia zaś wszelkiej wątpliwości co do kierunku strzeżonej granicy, postanowiono w miejscach wątpliwych takową „zregulować“ i oznaczyć znakami, to jest orłami cesarskiemi z herbem węgierskim na piersiach. Dla wykonania tej funkcyi wyznaczono specyalnych komisarzy, opatrzonych w specyalne instrukcye. Jednym z takich urzędników przy korpusie generała Esterhazy'ego, zajmującym granicę nad Spiżem, był pułkownik kwatermistrzostwa bar. Seeger a jego pomocnikiem radca Józef Töröka de Szöndrö. Obaj ci panowie gorliwie się wzięli do rzeczy, a gdy pułkownik „regulował“ karty, radca przeglądał archiwa, celem wynalezienia dokumentów, mogących poprzeć ową „regulacyę“. Skutkiem wysilonej pracy udało się im w październiku 1769 r. wysłać do Wiednia raport a przy nim karty i dowody (!), na mocy których wywnioskowano, iż komitaty Spiski i Orawski kiedyś stykały się bezpośrednio z sobą, cała więc Nowotarszczyzna i znaczna część Sądeczczyzny jest awulsem od Węgier, których właściwą granicę powinna tworzyć linia Beskidu od Babiej Góry w kierunku głównego łańcucha. Niepodobna nam tutaj wchodzić w drobne szczegóły terytoryalne, które tylko z dobremi kartami i planami, przy nader aktualnym ich opisie, mogą być zrozumiane, powiemy więc ogólnie, iż obaj austryaccy urzędnicy, samowolnie, nie pytając się nikogo i nie radząc się nikogo w tej okolicy o granicę idącą po Białce do Białej Wody, przesunęli ją do potoku, wypływającego z Rybiego Stawu. Nie była ta dowolność pojedyńczym faktem, w wielu innych miejscach zrobiono toż samo, wywołując długie lata toczące się spory, ale dla naszego przedmiotu wystarczy zaznaczony wyżej wypadek. Lecz co najzabawniejsze — gdyby tu mogło być co zabawnego — to, że opinie Töröka, dotyczące przynależytości tych okolic do Węgier, w niespełna rok doznały właściwego ocenienia ze strony władz wiedeńskich. Skoro bowiem w 1770 r. wojska austryackie zajęły Spiż, przesunięto graniczne orły austryackie na linię Beskidu i tym sposobem znaczna część Sandeczczyzny znalazła się w rękach Austryi. W dwa lata później pod berło Austryackie dostała się cała Galicya i wtedy powstało pytanie, co zrobić z ową częścią zajętą w 1770 r., czy ją wcielić do Węgier na mocy rzekomych dokumentów Törökowych — czy przywrócić dawną granicę a Sandeczyznę wcielić do Galicyi? Ani chwili nie wahano się w Wiedniu i postąpiono jak wskazywała druga z powyższych alternatyw,

---

typu owego inteligentnego widza, który z niezmąconym spokojem przypatruje się wszystkiemu, co nowe dlań a przez innych podziwiane, podkreślając w Baedekerze co już widział, i owego myśliciela, który milczy, aby lepiej obserwować, aby spostrzeżenia dostarczyły mu materyału do samodzielnego na świat poglądu.

Charakterystyczna cecha turysty w podróżach jak i w życiu, to brak określonego z góry działania: przygląda się wszystkiemu, co napotka, ale czynny udział w otaczającym go życiowym wirze nie wchodzi w zakres obowiązków, które uznaje... Pozostać przez całe życie turystą — trudno! wraz z uzdolnieniem, z przekonaniem, że można dać od siebie coś światu, pojawia się niekiedy i chęć do czynu. Ale czyn niekoniecznie wywołany zostaje przez wrażenie zewnętrzne; płynie on raczej z uzdolnień i upodobań działającego.

Społecznicy par excellence orzekną może, że taki człowiek w społeczeństwie tak ubogiem, tak ciemnem jak nasze — to zbytek, co więcej, to element rozkładowy, który sam usuwa się od kadrów, a w dodatku demoralizuje innych. Może to i prawda. Armia, postępująca naprzód zwartym szeregiem, dzikich nie toleruje, społeczeństwo dzisiajsze składaćby się z nich nie mogło. Ale społeczeństwo, które nie jest tłumem bezmyślnym, ulegającym ślepo wskazówkom przewodników, armią być nie potrzebuje; składa się ono z jednostek, które według siebie stosunek swój do świata normować muszą.

Czy doprawdy można tu już użyć czasu teraźniejszego, czy nie jest to raczaj „muzyką przyszłości?“ Sądzę, że jest tu tylko stopniowanie; społeczeństwa dzisiejsze zbyt jeszcze mało posiadają indywidualności, abyśmy inaczej jak przez poczucie obowiązku trafić do nich mogli.

Są przecież wśród nich jednostki, których niepodobna zaprządz do tego wspólnego wozu, a pojawienie się ich, wnosząc pierwiastek nowy, jest objawem raczej dodatnim. — Turyści życiowi mają przeto prawo istnienia...

Kobiety w ogóle nie rozumieją podobnego kąta widzenia; jest on dla nich zbyt martwym, ich żywej wrażliwości, ulegającej głównie impulsom bezpośrednim, nie dość konkretnym. Przytem — to rola wymagająca zwykle znacznego indywidualizmu. Płeć niewieścią w ogóle nie stać na nią dzisiaj.

Nie jest to różnica zasadnicza, coś rzucającego światło na odrębność duszy niewieściej w ogóle, — bynajmniej; to poprostu kierunek myśli i chęci, daleki od dzisiejszego wychowania i rozwoju umysłowego kobiety. Najlepszy dowód, że jednostki drogę tę obierają, że Ludwika Ackerman n. p., jeden z najgłębszych umysłów niewieścich współczesnych, stała istotnie na stanowisku odległego obserwatora życiowego nie przez brak sympatyi czy woli, lecz wprost przez tendencyą swego refleksyjnego umysłu, który najlepiej czuł się w tej roli. Kto wie nawet, czy słabsza fizycznie natura kobiety nie nadawałaby się do stanowiska obserwatora więcej od męzkiej, o ile wybitna zdolność czy talent nie pociągnęłyby jej w pewnym kierunku.

Zresztą obserwacya życiowa i bezczynność to dwa całkiem różne pojęcia. Można być bardzo skrzętnym, bardzo gorliwym pracownikiem, a obok tego zachować spokój i bezstronność tego, który pragnie przedewszystkiem widzieć i wiedzieć. Wprowadza to człowieka na wyżyny niedostępne tym, co czynnie do wszystkiego chcą ręki przykładać...

Od turysty życiowego do badacza, do filozofa, który z tych badań daleko idące wyprowadza wnioski tylko krok jeden. Nauka weszła już dziś na tyle w krew lepszych, a więc myślących i wykształconych ludzi, że są natury, którym inaczej na świat patrzeć niepodobna. Jak Konrad w improwizącyi swej pragnął, aby na co spojrzy pogardzona przezeń kobieta zamieniało się w złoto, tak myślicielom owym wszystko, na co spojrzą, zamienia się w teorye, w przestanki dla wniosków ogólnych. Dziś stanowią oni znikającą mniejszość, ale z czasem, gdy ich będzie więcej, co za bogate umysłowe życie, skoro i to, co prozą dnia nazywamy, wciągnąć doń potrafią.

Niewygodni towarzysze, powie niejeden. Nie tyle przecież, jakby się zdawało. Bez drobnowidza i skalpelu niepodobna się im

lecz wtedy zaprotestowali Węgrzy w Peszcie a właściciele węgierscy na granicy, którym linia demarkacyjna Töröka przyznała wszystkie pretensye, jakie kiedykolwiek rościli do awulsów z drugiej strony granicy leżących a co do których — sprawy albo pokończonemi, albo przedawnionemi były. Wynikły więc na całem pograniczu spory a najliczniejsze od strony komitatu Spiskiego i Orawskiego, gdzie arbitralne postępowanie Seegera i Töröka, najwięcej zmian poczyniło. Władze zasypane zostały podaniami i skargami a wśród ogólnego rozjątrzenia 1774 r. doszło do wzajemnych między ludnością graniczną mordów. Wysłano więc w 1775 roku specyalną komisyę, która rozgraniczenie między Sandecczyzną a Węgrami uskuteczniła i dla swych prac potwierdzenie cesarskie uzyskała. Nie tak łatwo atoli poszła regulacya granicy od komitatu Spiskiego, komisye pełzły za komisyami, gdyż pretensye węgierskie, podsycane ich narodowym uporem, stawiały nieprzezwyciężone przeszkody zgodnemu uregulowaniu spraw granicznych. W 1793 roku np. w komisyi Węgrzy zażądali, aby granicę przesunięto według propozycyi Töröka, czyli aby 47 mil kw. z 130,000 ludności najbezpodstawniej wcielono do Węgier. Wobec takiego obrotu rzeczy, który się zresztą ponawiał i w następnych komisyach zwoływanych przez rząd, postanowiono jako modus vivendi — utrzymanie prowizorycznej granicy a tymczasem obie strony gromadziły materyały do obrony swej sprawy.

Ale to wszystko nie tłumaczy jeszcze genezy sporu o Morskie Oko; dotychczasowe opowiadanie nasze przedstawia stosunki, tło, na którem dopiero wyodrębnił się proces, zajmujący obecnie tak żywo opinię publiczną. Obecne terytoryum sporne, którego topografię nakreśliliśmy na wstępie niniejszego artykułu, nie było nigdzie wspominane jako sporne, ani w aktach historycznych, ani urzędowych. Po raz pierwszy dopiero wyszło ono na jaw w 1811—1813 roku a to z następującego powodu: rząd austryacki, wyczerpany wojnami napoleońskiemi, w roku powyższym postanowił sprzedać wszystkie dobra koronne w Galicyi i w tym celu ustanowił komisye szacunkowe; na podstawie wypracowań tychże, zarządzono sprzedaże. Otóż przy pomiarach topograficznych Nowotarszczyzny, gdy przyszła kolej na gminę Bukowiny, wykazano terytoryum 796 morgów z prętami jako „kontrowers", zakwestyonowany przez węgierskie dominium prywatne Frydman. Kontrowers ten obejmował las świerkowy Rosteka (211 m.), pastwiska (hale boru), skały Żabie nad Rybim Stawem (459), połowę Morskiego Oka (28 m.), cały Czarny Staw. Kontrowers ten nie przestał jednak należeć faktycznie za własność kamery nowotarskiej i gdy w roku 1824 tę część dóbr nabył na publicznej licytacyi Emanuel Homolacz, wprowadzono go także w posiadanie owej przestrzeni. Wprawdzie przy spisywaniu aktu, pełnomocnik bar. Polohayów, złożył zeznanie na swą korzyść, ale nie wpłynęło to na czynne użytkowanie tak z lasu Rostoka, jak i z pastwisk Żabie, gdzie sołtysi bilczańscy, na mocy przywileju Władysława IV. wypasali swe bydło wspólnie z powstałem następnie dominium Zakopane. Dopiero w 1831 roku, leśniczy, niejaki Franciszek Sochor, objąwszy służbę u Polohayów w Frydmanie, chcąc się przypodobać nowym chlebodawcom a zemścić na dawnych swych panach Homolaczach, począł stawiać czynny opór przeciw używalności lasów Rostoka i pastwiska na Żabiem. Rozumie się, spowodowało to zobopólne skargi w sądach galicyjskich i węgierskich, wskutek czego, wysyłano rozmaitemi czasy komisye, które miały na gruncie pretensye obu stron zbadać i dostarczyć materyału władzom i sądom do ostatecznego zadecydowania sprawy. Komisye te nie mogły nigdy nic pozytywnego zdziałać, gdyż strona węgierska nie chciała uznać dowodów przeciwnika, swoich własnych nie przedkładała, lub też zsyłała się na dowody niedostateczne, a wogóle, przyciśnięta do muru, chroniła się za kwestyę politycznej granicy kraju, co do której nie miała decydować prawa. Tymczasem na teatrze sporu zachodziły faktyczne a konieczne z biegiem czasu zmiany. Polohaye w męzkiej linii wymarli, ich sukcesorowie zawarli dla „sąsiedzkiej zgody" układ z Homolaczami o las na Rostoce, mocą którego, drzewo zostało własnością ostatnich a grunta przeszły na własność pierwszych, którzy następnie w r. 1879, całe dobra zbyli Prusakowi, ks. Krystyanowi Hohenlohe-Oeringen. I Zakopane przeszło również z rąk Homolaczów na własność berlińskiego barona Eichorna a następnie 1889 r. w ręce hr. Władysława Zamoyskiego. Godnem jest zaznaczenia, iż żadna z komisyi, przy zmianach właścicieli, nie mogła dojść do stałego porozumienia i pogodzenia praw posiadaczy prywatnych z polityczną granicą kraju; niedokończone jednak obrady każdej komisyi nie zwracały zbyt wielkiej uwagi w obu krajach i społeczeństwach sąsiednich — na kwestę sporną. Dopiero komisya w sierpniu 1883 roku, która podporządkowała pretensye prywatne interesowi uregulowania granicy kraju, zwróciła na siebie oczy wszystkich. Stało się to, dzięki udziałowi delegata Wydziału krajowego, p. Edmunda Mochnackiego, który odnośny raport złożył sejmowi we Lwowie i tym sposobem środek ciężkości całej sprawy przeniósł na grunt ogólny. Uwagę podsycała jeszcze ta okoliczność, iż Prusak ks. Hohenlohe, opierając się na pretensyach węgierskich, jako właściciel Frydmana, zabronił bilczanom pastwisk, przewozu na Morskiem Oku, dostępu turystom do zbudowanego przy temże schronisku Staszica, czem jątrzył ludność miejscową i sąsiedzką. Cały szereg gwałtów Hohenlohego pod egidą żandarmeryi węgierskiej, dolewał oliwy do ognia, tak iż zarówno w Galicyi jak i na Węgrzech, ze sprawy lokalnej, spór o Morskie Oko przerodził się w sprawę powszechną. Madziarski minister Hieronymii, w jednym ze swoich reskryptów oświadczył, iż „stosownie do faktycznego (?!) posiadania tegoż terytoryum, państwo węgierskie wykonywuje nad takowem wszelkie prawa panującemu przynależne i że tych praw nie może na razie i w ogólności nikt inny wykonywać, jak tylko państwo węgierskie". Z drugiej strony, sejm galicyjski, po licznych uchwałach, 1883 roku wyznaczył deputacyę pod przewodnictwem marszałka do cesarza Franciszka Józefa, celem upraszania go o rozstrzygnięcie kwestyi. Jak sprawa rozsądzoną zostanie — niepodobna przewidzieć, byłoby jednak pożałowania godnem, aby dla fantazyi madziarskich, popierających Prusaka, złamano odwieczną granicę wierzchołkami gór idącą i przepołowiono wody jeziora, które opinia za niepodzielną własność uważać przywykła.

P. T.

---

zbliżyć do człowieka, faktu, nawet do samego siebie, ale badanie przeprowadzają całkiem bezinteresownie. Badają, poznają nie dla tego, aby stąd ciągnąć korzyści, aby chwytać na uczynku pana X lub panią N, nie, ale dla tego, że ich fakt albo osoba interesuje jako zjawisko życiowe.

Moje lepsze, konsekwentniejsze, moje umysłowe ja ku takiemu stanowisku w życiu mimowolnie się wyrywa. Dziś, gdy przeszedł okres burzliwej młodości i namiętnego odczuwania wrażeń subjektywnych, pozostała ta najsilniejsza, a może i ostatnia namiętność poznania. Zaciekawia mnie nie pewna kategorya faktów, ale wszystko, co tylko żyje, i dla tego, że żyje. Niech więc życie pozwala pełną ręką czerpać ze swojej skarbnicy, niech odkrywa coraz nowe, coraz głębsze swe tajniki! Że przytem zadrasnięte nieraz będą moje uczucia, że niejedna struna w sercu boleśnie zadźwięczy, że przyjdzie nieraz powstrzymać odruch, który mimowoli w postaci słowa, czynu, wybuchu ciśnie się na zewnątrz, — to mniejsza.

I cóż stać się może? — chyba, że więcej jeszcze będę wykolejoną niż dzisiaj... Czy jednak równowaga i norma są ideałami?

Jaskółka.

KRONIKA GALICYJSKA.

(Zjazd pedagogów, sprawa wychowania narodowego. — Historya polska w gimnazyach galicyjskich. — Zakaz obchodów. — Jubileusz Zacharjasiewicza. — Modrzejewska. — Opera. — Agonia koalicyi.)

W poprzedniej kronice zanotowałem tylko kilku słowami, że odbył się w Krakowie zjazd doroczny Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Wzmiankę tą należy uzupełnić, gdyż poruszono parę spraw pierwszorzędnego i nietylko galicyjskiego znaczenia.

Sporą dyskusyę wywołał referat prof. Krotowskiego o przeciążeniu w gimnazyach. W Galicyi przeciążenie to więcej daje się odczuwać aniżeli gdzieindziej, gdyż plan naukowy gimnazyów galicyjskich jest rozszerzony dwoma nowemi przedmiotami. Prowadzi to za sobą zaniedbanie fizyczne, a nawet moralne, gdyż młodzież, nie mogąc zadość uczynić wymaganiom, ucieka się do środków i środeczków. Bardzo słusznie zwracał referent uwagę na dziwny sposób traktowania spraw oświaty. Sens jego uwag był taki: nad kodeksami radzą najtęższe głowy prawnicze, nad sprawami handlowemi kupcy i przemysłowcy, tylko nad planami naukowemi zastanawiają się ludzie, którzy żadnej praktyki, a często i świadomości rzeczy nie mają. Inspektorów, dyrektorów i nauczycieli gimnazyalnych nikt się o nic nie pyta — sprawami oświaty rządzą teoretycy ministeryalni. Nie powiedział pan Krotowski, bo mu nie wypadało, że ministrem oświaty w Austryi jest były notaryusz, znawca wyborny ale... prawa cywilnego, a na czele oświaty w Galicyi stoi także były profesor prawa. Referat p. Krotowskiego nie podobał się członkom Rady szkolnej, hr. Stanisławowi Tarnowskiemu i dr. Germanowi, oraz profesorowi wydziału prawa dr. Kasparkowi, ale podobał się snać ludziom kompetentnym, bo zgromadzeni nauczyciele olbrzymią większością uchwalili wyrazić opinię, że należy w pewnych przedmiotach ograniczyć materyał naukowy i w sprawach oświaty pytać się o radę tych, co zawodowo na jej polu pracują.

Jeszcze ważniejszem było podniesienie sprawy wychowania młodzieży w duchu narodowym. Referent dr. Karbowiak powołał się na komisyę edukacyjną, która wyraźnie polecała wychowanie człowieka i obywatela. Ztąd też przedmioty takie jak polski język, literatura i historya powinny być wykładane przez najdzielniejszych pedagogów. Prócz tego należy pracować nad poznaniem pedagogii narodowej, a ku temu powinny służyć: a) głębsze badania dziejów wychowania i szkół w Polsce, b) wydanie pedagogii, uwzględniającej potrzeby narodowej edukacyi młodzieży polskiej. W tym celu oprócz zbierania źródeł i materyałów do historyi szkół polskich i napisania pedagogii narodowej, potrzeba postarać się o założenie muzeum polskiego pedagogicznego, obejmującego wszystko, co się do szkół polskich odnosi.

Należy żałować, iż nikt ze zgromadzonych, kiedy była mowa o wychowaniu narodowem, nie wspomniał o rzeczy najważniejszej, a mianowicie o karygodnem lekceważeniu wykładu historyi polskiej. Blagujemy przed światem, a często i Niemcy blagę tę powtarzają, że rządzimy Austryą, a tymczasem nie doprowadziliśmy nawet do tego, aby wykład historyi polskiej był obowiązkowym. W gimnazyach naszych uczą tak zwanej historyi kraju rodzinnego i to z podręczników tak suchych i tak lojalnych, że aż wstręt bierze je przeglądać. Przed laty pięciu podniosłem tę sprawę i zakończyłem mój artykuł słowami: „Gdybym należał do tych, których słowa mają posłuch u góry, powiedziałbym gdzie należy: zrzekamy się wszystkich eksdencyi, nie żądamy ani jednego nowego hrabiego lub szlachcica, niech ordery pomijają Galicyę zupełnie, niech Verwaltungsrathami będą sami Niemcy, niech nie odwiedza nas żaden minister ani szef sekcyjny, niech źródło tych łask całkiem wyschnie — a pozwólcie młodzieży naszej uczyć się obowiązkowo historyi Polski, pozwólcie ją wykładać tak, aby stała się nauką patryotyzmu. Na tym patryotyzmie źle nie wyjdziecie, bo

młodzież nauczy się być wam wdzięczną za uszanowanie przez was praw narodowych, które znajdą wyraz wybitny w samym fakcie odpowiedniego wykładu dziejów ojczystych...“

Artykuł ten mój (przepraszam, że się chwalę) zrobił nieco wrażenia, czego najlepszym dowodem było, że umieszczono skierowany przeciw niemu złośliwy artykulik w „Czasie“, pióra jednego z członków Rady szkolnej. Ponieważ niezwykłem być dłużnym w odpowiedzi, przeto nieznanemu mi wówczas jeszcze z nazwiska autorowi sprawiłem dotkliwą łaźnię w wychodzącym wówczas „Kuryerze“. Dla charakterystyki naszych stosunków dodaję, że niedługo potem zemszczono się na mnie... finansowo. Szczegółów nie podaję, bo nie chcę podnosić zasłony z tej naszej... uczciwej walki na polu przekonań.

Charakterystycznem jest to, iż zapatrywania moje na historyę polską podzielają nawet członkowie Rady szkolnej krajowej, ale dopiero wtedy, kiedy już są na... emeryturze. Świeżo p. Bronisław Trzaskowski, emerytowany niedawno członek Rady szkolnej, wydał bardzo dobre „Szkice pedagogiczne“ (Lwów, 1895), a w nich, w artykule o wychowaniu młodzieży w duchu narodowym, podnosząc ogromną ważność nauki dziejów ojczystych, pisze te słowa: „Wielką boleścią napawa serce każdego patryoty to, że w szkołach naszych średnich nie zaprowadzono dotąd historyi ojczystej jako odrębnego obowiązkowego przedmiotu, lecz tylko pod wstydliwą nazwą historyi kraju rodzinnego dano jej, jako przedmiotowi nadobowiązkowemu, jaki taki przytułek... Zdaje mi się, że ci, do których to należy, nie dość stanowczo i wytrwale domagali się u rządu nadania nauce dziejów ojczystych tego stanowiska w systemie nauk szkolnych, jakie się jej, już ze względów pedagogicznych, koniecznie należy“ (str. 46).

W tymże samym artykule tenże sam były radzca szkolny mówi o potrzebie obchodzenia przez młodzież wielkich wypadków narodowych, radzi tylko, aby te obchody odbywały się g o d n i e i p o w a ż n i e. Jako ilustracyę do tych słów podaję fakt świeżo zaszły w Krakowie. Oto młodzież VII klasy jednego z gimnazyów pragnęła w rocznicę bitwy pod Szczekocinami zamówić o godzinie 7-mej rano, a więc przed szkołą, nabożeństwo w kościele OO. Pijarów. Dyrektor, dowiedziawszy się o tem, wezwał inicyatorów i zagroził wypędzeniem ze szkół wszystkim uczniom, którzy w nabożeństwie udział wezmą. A zdaje się przecież, że trudno g o d n i e j i p o w a ż n i e j obchodzić rocznicę bitwy, jak nabożeństwem za dusze poległych. Zdaje się, że zakaz owego dyrektora nie wypłynął z jego własnej inicyatywy, mówiono mi bowiem o tajnym okólniku Rady szkolnej, który dozwala młodzieży obchodzić jedynie dzień śmierci Mickiewicza i nie pamiętam już, którą drugą rocznicę. Jaka to szkoda, że obecni członkowie Rady szkolnej nie są już jej byłymi członkami — może wszyscy inaczej zapatrywaliby się na wykład historyi polskiej i na obchody rocznic narodowych. Jaka to szkoda, że spraw tego rodzaju nie poruszył zjazd Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych! A może i lepiej, bo nużby się Austrya rozpadła, gdyby historyę polską odpowiednio w szkołach galicyjskich wykładano. Czuję, jak skóra ścierpnie naszym wielkim politykom, wyznawcom trzech lojalności, jeżeli któremu z nich wpadnie moja kronika do ręki.

Pogadajmy o rzeczach weselszych.

Jubileusz Zacharjasiewicza odbył się we Lwowie stosunkowo świetnie. Wręczono jubilatowi upominki, dziękowano mu serdecznie za pracę na niwie literatury. W bankiecie urządzonym w kasynie miejskim wzięło udział 200 osób; przemawiali: prezydent miasta Mochnacki, Krechowiecki, poseł Romanowicz i t. d. Karol Brzozowski wierszem uczcił autora „Świętego Jura“. Nadeszło około stu telegramów. „Koło literackie“ zaledwie mogło w swych salonach pomieścić uczestników rautu, danego nazajutrz na cześć jubilata.

W Krakowie „Koło artystyczno-literackie“ chciało uczcić Modrzejewską jako artystkę i jako obywatelkę, ze względu na wydany jej przez rząd rosyjski nakaz wyjazdu z Warszawy. Ale zebrało się zaledwie 30 osób, pomimo, że udział był dozwolony i niečzłonkom i płci pięknej. Nikogo z „jasnych panów“ na tem przyjęciu nie było, a przecież tak niedawno, za poprzednim pobytem artystki, oddawali jej owacyjne hołdy. Czyżby w opinii ich zaszkodziła sobie, że nie umiała pogodzić trzech lojalności? Porównajcie to z wyjątkowo hucznemi zabawami naszej arystokracyi podczas ubiegłego karnawału w stuletnią rocznicę ostatniego rozbioru, a będziecie mieli obrazek kołowaciżny politycznej naszych „sfer wyższych“.

Przedsiębiorcy sezonowej opery krakowskiej zacierają ręce, bo kasa jest pełna. Telegramy na wsze strony roznoszą reklamę, tymczasem Bogiem a prawdą powiedziawszy, cała ta opera nie całkiem nawet dorasta operze lwowskiej, dla której uwielbień nasze reporterstwo nie miało. Jeden Myszuga ratuje dotąd sytuacyę. Chóry są słabe, od orkiestry wojskowej wiele wymagać nie można, bo musi się dopiero pomału przyzwyczaić i do wymagań opery zastosować. Przyjazd p. Konarskiej, primadonny opery warszawskiej, podniesie zapewne poziom sezonu operowego. Ma być to najlepsza dzisiejsza „Halka“.

Zresztą żyjemy obecnie Wiedniem, w którem oczekiwanym jest finał koalicyjnej operetki. Mówią o podaniu się ministerstwa do dymisyi — drżenie rozkoszy przejmuje naszych kandydatów na ministrów. A nuż p. Rutowski lub Szczepanowski zostanie ministrem? Będzie Polska!

K. Bartoszewicz.

KRONIKA BERLINSKA.

Berlin, d. 17 czerwca.

(Słówko o kongresie ewangelicko-społecznym. — Kwestya kobieca u różnych partyi społecznych. — Kredyt dla rolników w sejmie pruskim. — Bismarck i jego wystawa. — Antypolskie obawy Schmollera. — Literatura polska w uniwersytecie.)

Pisma codzienne doniosły już o przebiegu kongresu ewangelicko-społecznego, który jest tylko przednią strażą chrześciańską społecznej partyi robotniczej i w 1890 r. powołany został do życia przez Stöckera dla walki ze społeczną demokracyą. Tutaj więc dodać należy, że charakter obrad nie zmienił się bynajmniej w ciągu ostatnich lat pięciu, niechęć do demokracyi, która tak mało prozelitów dostarcza stronnictwu ewangielickiemu, jeszcze się zaostrzyła. Olbrzymią większością głosów przyjęto rezolucyą, że walka przeciwko błędom demokracyi społecznej stanowić ma główne zadanie stronnictwa. Po za tem bojowem przytupywaniem obrady nosiły czysto akademicki charakter i mimowolnie pozostawiły wrażenie bezsilności.

Kwestya kobieca, o której w obszernym referacie mówiła pani Gnauk, przełożona zakładu naukowego dla dziewcząt w Brunświku, stanowiła najżywotniejszy i przełomowy niemal punkt programu. Konserwatywne koła przekonały się, że kobieta dzielnie potrafi bronić praw swej płci, a jak mówił waszemu korespondentowi prof. A. Wagner, opór przeciwko wystąpieniu publicznemu kobiety wszędzie ustąpić musiał entuzyazmowi, pod wpływem którego kilku młodszych członków kongresu oświadczyło, że jest to najpiękniejszy dzień w ich życiu! To s i g n u m t e m p o r i s wskazuje jakie postępy zrobiła już kwestya kobieca w Niemczech. Wiedziano, że wśród demokracyi społecznej przemawiają kobiety, że Amerykanki i Angielki lepiej nieraz od mężczyzn upomnieć się umieją o swoje prawa, ale na pierwszych patrzało się z góry, na drugie jak na zwierzęta w klatce, wrażenie właściwe wywołało dopiero przemówienie kobiety z własnej sfery i na tym samym, co zgromadzeni stojącej gruncie. Czegoż żądała p. Gnauk?

Oto stwierdziwszy, że wiele kobiet, które spełnić nie mogły naturalnego swego przeznaczenia, pozbawione są celu w życiu, utrzymania i możności zupełnego rozwoju umysłowych sił swoich, że obie płcie choć odrębne, ale jednakowo doniosłe mają przeznaczenie, żądała obrony niezamężnej kobiety, pracującej przed wyzyskiem, a mężatki przed nadużyciem praw mężowskich. Za środek praktyczny, najlepiej do celu prowadzący, uważa swobodę tworzenia stowarzyszeń i związków wszelkiego rodzaju, a więc i politycznych.

Czytelnikom wiadomo zapewne, że w Prusach i większości państw niemieckich kobietom zabronione jest należeć do stowarzyszeń o celach politycznych. Przed paru dniami odbyły się jednocześnie dwa zgromadzenia ludowe, na których posłowie Auer i Bebel, najlepsi mówcy demokracyi społecznej, a może i w ogóle najdzielniejsi oratorowie parlamentarni rozbierali stosunek kobiet do prawa o stowarzyszeniach i polityki. Sale były przepełnione publicznością robotniczą płci obojej. Nie potrzebuję dodawać, że mowy były świetne, pono jednak większe robią wrażenie nieprzygotowane występy samych robotnic przy dyskusyi. Wszystka gorycz, która w duszy kobiecej nagromadziła się przez życie: od chwili, kiedy dziewczynką pomiatał ojciec, kiedy w służbie lub fabryce służyła za popychadło, wszelkie poniżenia i zawody, które znieść jej przyszło w stosunku z kochankiem, czy mężem, wyzysk przy pracy, podrzędne stanowisko w domu, ciężka i nieustanna praca bez promyka umysłowego życia, który rozświetla przecież szarą jednostajność życia męzkiego proletaryusza, wylewa się tu w namiętnych, gorzkich słowach, w ponurych i niekunsztownych obrazach mowy robotnicy! Opisy życia schwytanego na uczynku tak potężne czynią wrażenie, że wstrząsa ono nerwami silniej od niejednej tragedyi teatralnej. Dopełnienie owego cyklu wykładów o kwestyi kobiecej poda jutro Klara Zettkin ze Sztutgardu, najinteligentniejsza może postać kobieca wśród społecznej demokracyi niemieckiej.

W tych dniach otrzymał sejm pruski projekt „założenia instytucyi kredytowej dla poparcia osobistego kredytu związków wytwórczych“. Autorem jego jest minister Dr. Miquel, a chodzi mu o związki rolników, z tego więc względu projekt dla Księstwa nader jest ważnym. Zadaniem instytucyi będzie między innemi:

1) Udzielanie procentowego kredytu kasom pożyczkowym wiejskim dla większej własności i gminnym.

2) Przyjmowanie od tychże instytucyi wkładów, oszczędności, eskonto i sprzedaż weksli, pośrednictwo przy zakupnie papierów wartościowych i t. p.

Nowa instytucya otrzymać ma ze strony państwa pożyczkę pięciu milionów oprocentowaną na trzy od sta i jak podają motywy, istnieje dla podtrzymania stanu średniego, a więc zarówno drobnego mieszczaństwa po miastach, jak i średniej własności chłopskiej. Ma ona zapobiedz klęskom, które czynią w rolnictwie zapotrzebowanie kredytu często niezbędnem.

„Vorwärts“ twierdzi przecież, że chodzi tu więcej o wielką własność, gdyż według statystyki przeprowadzonej przez samego Miquela własność chłopska mniej jest obdłużoną, aniželi obywatelska. W okręgach wschodnich na spłatę procentów idzie następująca część dochodu z roli: w Gumbińskim 44 proc., gdańskim 48, wrocławskim 44, lignickim 50, opolskim 48, i t. d. Wobec tak wysokiego obdłużenia hipotecznego instytucya kredytu osobistego niezmiernie być może użyteczną.

Zresztą dla rolników dobre dziś nastały czasy, skoro Bismarck tak wyraźnie podnosi prawa i wyższość tych, co posiadają własność gruntową, sam występując przedewszystkiem jako obywatel wiejski. Interesów własności ziemskiej bronił on zresztą przez całe życie, a dziś na wystawie adresów i upominków, jakie otrzymał w dniu pierwszym kwietnia, najpiękniejszym może upominkiem jest srebrna tarcz, zdobna napisami od związku rolników.

Wystawa ta, na której przejawił się wyraźnie duch niemiecko-pruski, ma ciekawe momenta. Przedewszystkiem góruje tu dąb i żelazo ponad wszelkim innym materyałem. Przydomek żelaznego kanclerza zdaje się niemnie

dogadzać jubilatowi, jak i jego wielbicielom. — Adresy, pochodzące od grup, stowarzyszeń, miast, prowincyi, okręgów, najczęściej wykonane są na białym pergaminie, oprawne w skórę, drzewo dębowe lub w bardzo zdobne i niekiedy prześliczne wykonane ramy żelazne.

Nad innemi góruje adres 72 miast saksońskich i dyplomy, przez które Halla, Regensburg, Siegen i inne mniejsze miasta mianują Bismarcka swym honorowym obywatelem. Nie brak też adresów ze stron odległych, jak od Niemców z południowej Afryki, z Austryi, ze Szwajcaryi.

Dary są to pochodzące przeważnie od pojedyńczych osób bardzo skromne. Są tu i laski i fajki, puhary, serwisy, szachy, beczki, kielichy, ale również części ubrania i roboty kobiece. Rozczulającemi byłyby te prywatne dowody uznania, gdyby było w nich trochę więcej gustu, poezyi, a nieco mniej — praktyczności. Oprócz szelek i pantofli, sprawiono, jak się zdaje, całą garderobę ulubieńcowi narodu, który się w nią wspaniałomyślnie nie ubrał, lecz przeznaczył do narodowych zbiorów. W muzeum owem każdy ze zwiedzających uwiecznić się również może, zapisując nazwisko za — 25 fenigów.

Jeżeli porównamy dary jakie ongiś otrzymał nasz Kraszewski od narodu, z tem co Niemcy ofiarowali Bismarckowi, to porównanie wypadnie pod każdym względem na korzyść naszego narodu i naszego jubilata. Uwydatni ono również różnicę oddziaływania obu mężów: idealne porywy, które pielęgnował powieściopisarz, i brutalną siłę, oraz praktyczne przymioty rozbudzone i spotęgowane przez żelaznego kanclerza.

Nie wydają się one przecież dostatecznemi do życiowej walki tym, którzy dziś na straży całości i potęgi niemieckiej stoją. Baczą oni, aby nie rozwinął się najsłabszy przejaw miękkości, aby nie wyrosła żadna groźba dla niemieckiej potęgi. W prasie, na zgromadzeniach, a nawet z profesorskiej katedry ciągle rozlegają się ostrzeżenia i nawoływania.

Trudno wierzyć, aby uniwersytecką a l m a m a t e r uczyniono taką placówką bojową, a jednak jest nią wszechnica berlińska: oto dowody: niedalej jak dziś profesor Wagner dowodził, że wzięta w 1870 roku pięciomiliardowa kontrybucya była 3—4 razy za małą i że na drugi raz obficiej upuszczą krwi Francuzom, na co słuchacze odpowiedzieli grzmotem aprobaty (naturalnie „nożnej“, zwykłego dowodu zadowolenia młodzieży), ze dwa tygodnie temu zaś Schmoller, który, jak wiadomo, żąda dziś nawet 100 milionów na niemiecką kolonizacyą wschodnich polskich prowincyi, w podobny sposób rozbudzał patryotycznego ducha młodzieży i otrzymał równie ostentacyjne dowody uznania. Oto twierdził on, że na wschodzie dokonywa się nieustanny przyrost polskiego elementu, który powoli, ale stale ruguje Niemców. Jeżeli tedy rząd nie zapobieży temu przez wewnętrzną kolonizacyą, dokona się to, co w Czechach, — mianowicie niemiecka arystokracya zostanie zastąpioną lub wynarodowioną przez polską i za sto lat przyznać się nie zechce do dawnego pochodzenia swego!

Czy ten niemiecki szowinizm nie powinienby również zagrzewać polskiej młodzieży, aby stała na straży narodowych interesów, aby w ciągu lat przeznaczonych na naukę, oprócz studyów zawodowych starała się poznać i polubić to, co stanowi narodową naszą własność, jedyną własność, której nie zabierze wrogie żelazo — literaturę? Jest w uniwersytecie berlińskim profesor literatur słowiańskich, gruntowny i wysoce ceniony badacz, A. Brückner, Polak, który w każdym semestrze prowadzi wykład literatury polskiej. Ale cóż się okazuje? Dla wykładu, choć przystępny i zajmujący, wystarcza najmniejsze audytoryum, i to świeci pustkami. Czy to nie wyznanie obojętności i apatyi narodowej wobec szowinistycznej młodzieży niemieckiej? Siła pójdzie przed prawem, zwłaszcza tam, gdzie tego prawa nie bronią!

S. Z. D.

NA WYŁOMIE.

(Baju baju po zwyczaju. — Nasza krytyka artystyczna. — Wspomnienie o śp. Władysławie Mottym. — Klątwa „Kuryera“.)

W pismach poznańskich i galicyjskich roją się teraz krótkie i długie, barwne i szare, poetyczne i prozaiczne, rozumne i . . . mniej rozumne opisy wystawy naszej. Z małemi wyjątkami korespondenci odgrywają tu rolę tapicerów. Niewinna zabawka! Trochę świecidełek, trochę sztucznych zachwytów i welonów — to jeszcze najskromniejsza z wszystkich blag narodowych. A że tam w wyścigu rozmaitych panegiryzmów ktoś najfałszywsze przytoczy szczegóły, że tam pan korespondent „Kraju“, dwóch imion Wojnicz i Domarat, w prześlicznej rzeźbie Marcinkowskiego domyśli się „niebieskawego kamienia w ł o s k i e g o (?!)“, lubo to odlew cynkowy, pociągnięty cienką warstwą cynkoksydu, — no! do takich omyłek i dowodów znawstwa poznańskiego przywykliśmy już od dawna. Toż przed niedawnym jeszcze czasem „Kuryer Poznański“ w opisie rzeźb tego samego artysty, umieszczonych w tumie poznańskim, podniósł z naciskiem, że figura Chrystusa wykonaną jest z jaśniejszego kamienia niż figura Piotra i przez to wyróżnia się blaskiem promiennym. Miły Boże! Jak to ci domorośli estetycy tłomaczą sobie tajemnice artyzmu! Zapewniam Kuryerowych „znawców“ (sic); że cała grupa Chrystusa wręczającego klucze Piotrowi z jednego jest wykonaną kamienia, a postać „Boga-człowieka“ jedynie przez misterny układ fałd, poniekąd może i oświetlenie, jaśniejszą się wydaje. Ten efekt spotęgowanej jasności nie jest zaletą kamienia lecz tryumfem artysty.

Gdyby jednak tylko nieznajomość technicznych tajników sztuki była znamieniem artystycznych wyroczni miasta Poznania, to nie kusiłbym się o Neptunowskie „Q u o s e g o“ wobec kolegów po piórze, — ale co boli i co nieraz rumieńcem wstydu farbuje oblicze lokalnego patryotyzmu, to ten zupełny zanik jakiegokolwiek zmysłu piękna w szeregach recenzentów poznańskich. Jakąż ma być ta publiczność, która z trójnoga V a s a r i c h swoich słyszy zachwyty fryzyerów i modniarek, jakże żądać od społeczeństwa miłości dla sztuki, jeżeli urzędowi krytycy jego nie mają więcej zrozumienia piękna, niż ów Rzymianin, wołający do żołnierzy eskortujących korynckie rzeźby: „Tylko ostrożnie, bo gdy potłuczecie statuy, musicie w Rzymie nowe obstalować“.

Był w Poznaniu jeden artysta i krytyk, który znał, kochał i rozumiał piękno, — ale zszedł do grobu smutny i złamany, a nad trumną jego nie wyśpiewano nawet tysiącznej części tych panegiryków, któremi dekorują często pamięć najprostszych żołnierzy „ładu i porządku“, członków wielkiego bractwa wzajemnej adoracyi, ludzi bez talentu, bez wybitniejszych zasług i poświęceń, których jedyną zaletą może był kark giętki, umysłowa nicość i korne posługi w mennicach klerykalno-lojalnych wartości. Żył smutny i umarł smutny. — Ścigany nieraz brutalnem szyderstwem pospolitych głupców, którzy tej duszy głębokiej i wrażliwej ani zrozumieć, ani ocenić nie umieli. Mówię o W ł a d y s ł a w i e M o t t y m. Młyn dziennikarski, który już tyle talentów zmełł na otręby, i ta poznańska atmosfera schlebiająca tylko miernotom a nienawidząca głębszych umysłów, złamały go i zniechęciły do życia, — a dźwiękom artystycznym, które z pod jego pióra płynęły, odpowiadało tylko urąganie lub lekceważenie. A przecież rozprawy i krytyki jego z dziedziny piękna były najmisterniejszym haftem na kanwach „Dziennika Poznańskiego“, prześliczną tkaniną subtelnych obserwacyi i artystycznego czucia, opromienionych jakiemś wielkiem ukochaniem sztuki.

Pamiętam raz — błądziliśmy razem po wystawie obrazów. Gdzieś w kącie spostrzegłem krajobraz alpejski — górali powracających z wyżyn śniegowych w doliny. Prześliczne płótno! — malowane śmiało, niemal ryzykownie, ale z zachowaniem zasad perspektywy i praw horyzontu mimo gwałtownych skróceń i pozornych zboczeń perspektywicznych. Zachwyceni malarskiem pojęciem i technicznem wykonaniem pejzażu i figur, mówiliśmy długo o talencie artysty i potrzebie zwrócenia uwagi publiczności na drogocenną perłę wystawy, — nagle towarzysz mój skrzywił się ironicznie:

„Zapominasz, że jesteśmy w Poznaniu, — rzekł tym bolesno-sarkastycznym tonem, który pod koniec życia był nieodstępnym towarzyszem jego. — Zakład zrobię, że jeżeli ja nie napiszę o tym obrazie, to nikt nawet nie wspomni, że wśród tej tandety — tu wskazał ręką na resztę malowideł, — jest utwór wybitnego talentu. A jeżeli napiszę, — tu głos jego stał się silny i świszczący — to nikt nie przeczyta, lub przeczytawszy powie mi, żem głupi. Tu, widzisz, podobają się oleodruki i takie malowanki słodkie, jak ta porcelanowa główka z rozmarzonemi oczyma lub ta matka ze spuchniętą twarzą i z dzieciątkiem w koszulce. Ba! ja jestem głupcem, zarozumialcem, zbrodniarzem nawet. Wolę n. p. ten pejzaż wspaniały od kopiowanej robótki panny X., choć to córka miejskiego dygnitarza. Co? miłe miasteczko!“

Machnął ręką i umilkł.

W kilka dni później przekonałem się, że Motty nie chybił ani na jotę. Ludzie zachwycali się główką porcelanową i matką z dziecięciem, a jeden z dzienników doniósł, że panna X., córka zaszczytnie znanego * i t. d., wystawiła „prześliczny klejnocik artystyczny, świadczący o wybitnym talencie autorki“. O górskim krajobrazie nikt nawet nie wspomniał.

Umarł krytyk-artysta, a jeżeli tam gdzieś na planecie jakiej przeznaczyły mu drugie istnienie moce tajemnicze, i jeżeli wicher międzyplanetarny echo słów moich zaniesie do niego, to może uśmiechnie się boleśnie i powie:

— Dziękuję ci, ale rzuć oręż i stań się braminem, pogrążonym w cichej kontemplacyi, bo tam nic nie warto!

Tak mówił zawsze, a mimo to męczył się i skonał w tej męce.

A krytyka poznańska szła dalej utartym szlakiem, — pełna frazesów bez sensu, pełna fałszywych zachwytów, pełna idyotycznych uwielbień lub potępień. Nie chcę wymieniać ani pism ani osób, ale jesteśmy codziennie nieomal świadkami takich dziwolągów nietylko na polu sztuki lecz i w dziedzinie literatury, że już nie gniew, nie zapał polemiczny, lecz żal głęboki się budzi nad tą poznańską Boecyą. Poezye o „szumiących wiaterkach“, drukowane w jednym z dzienników, powieści o przeróżnych „aniołkach“, krytyki o „perłowych ząbkach“ artystek, uznania dla autorów dramatycznych za to, że „nie we fraku, lecz w demokratycznym tużurku“ stanęli przed rampą, posłuszni wołaniom publiczności, zachwyty nad h i s t o r y c z n e m m a l a r s t w e m B ö c k l i n ó w (!) — to codzienna strawa, któremi prasa karmi publiczność poznańską. A biada temu, kto w ten rój os rękę swoją włoży.

Przekonany jestem, że „Kuryer“, przeczytawszy słowa powyższe, napisze dla nas powtórnie „zaproszenie do przedpłaty“, wołając głosem namaszczonym, że „uczciwe domy wielkopolskie nie otworzą drzwi swoich dla „Przeglądu““. Kuryer i uczciwość! To pismo, o którem dzisiaj podobnie jak o „Roli“ warszawskiej mówi się: „Z przeproszeniem Kuryer Poznański“, śmie od uczciwości odsądzać abonentów naszych, — to pismo, które z dnia na dzień pod względem redakcyjnym i zasadniczym spada coraz niżej, śmie innych uczyć etyki! Niech zgrzyta! Z poza klątwy rzuconej wychyla skrzywione oblicze strach przed szermierzami „Przeglądu“. Jego przestroga to najlepsza dla nas rekomendacya — to 300 nowych abonentów.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Podatki na wojsko a lud polski. Kilka słów przestrogi i napomnienia dla wszystkich Polaków skreślił K. R. Poznań 1895 r.

W maleńkiej tej, bo obejmującej zaledwie 32 stronnic, broszurce, rozwija autor w sposób żywy i treściwy myśl powszechnego rozbrojenia i ligi pokojowej, wykazując przytem fatalne skutki, jakie militaryzm europejski dla wszystkich ludów a w szczególności dla ludu polskiego pociągnąć musi.

Książeczkę cechuje zapał serdeczny dla idei reformacyjnéj, którą dziś zajmuje się coraz żywiej Europa, a która w naszych dzielnicach mało dotychczas znalazła apostołów.

* * *

Zdania Oskara Wildego*). „Kobiety są sfinksami wolnemi od wszelkich tajemnic“.

„Wierni w miłości znają tylko jej komedyę, niewierni poznają tragedyę miłości“.

„Mężczyźni żenią się w skutek zmęczenia, kobiety w skutek ciekawości — jednych i drugich zawsze zawód spotyka“.

„W całym Londynie jest zaledwie pięć kobiet, o których byłoby warto mowić. ale cóż, kiedy dwie z tej liczby nie mogą być przyjmowane w przyzwoitych towarzystwach“.

Mężczyzna popełniając najkapitalniejsze głupstwo, czyni je ze szlachetnych popędów“.

„Kobieta, pragnąca zmienić usposobienie męża, posiada jedną tylko drogę: znudzić go tak gruntownie, aby stracił całą chęć do życia“.

„Żadnego mężczyzny nic tak nie wbija w zarozumiałość, jak twierdzenie, iż jest grzesznikiem“.

„Jedyny jest środek, aby uwolnić się od pokusy: uledz jej“.

„Tylko przeciętne kobiety są zazdrosne o swoich mężów; piękne nigdy, bo nie mają czasu na to, tak zajęte są zazdrością o cudzych mężów“.

„Nic tak źle nie wpływa na harmonię w miłości, jak cokolwiek humoru ze strony kobiety, a zupełny jego brak w mężczyźnie“.

„Mężczyzna pragnie być zawsze pierwszą miłością kobiety; kobieta nie jest tak wymagającą, ona pragnie być ostatnią“.

„Pomiędzy świętymi i grzesznikami jest ta tylko różnica, że pierwsi mają przeszłość, a drudzy przyszłość“.

„Kobiety zwą się wtedy „siostrami“, gdy posiadły już wszystkie możliwe tytuły“.

* * *

Aleksander Dumas wydał w tych dniach drugi tom dzieła swego pt. „Théâtre des autres“ (teatr innych). Jestto zbiór sztuk, które pisał wespół z różnymi współpracownikami i zazwyczaj pod mniej lub więcej przezroczystym pseudonimem. Wbrew zwyczajowi swemu Dumas zaniechał tym razem przedmowy, z czego tłómaczy się w kilku wierszach wstępnych, że „mówił już o innych dosyć, a o sobie wiele za dużo“.

* * *

Jubileusz Aleksandra Świętochowskiego. W roku bieżącym upływa 25 lat działalności pisarskiej dr. fil. Aleksandra Świętochowskiego. W gronie przyjaciół jego i towarzyszów pracy powstała myśl upamiętnienia tej rocznicy odpowiednim wydawnictwem i fundacyą jego imienia. Postanowiono mianowicie wydać książkę zbiorową, zawierającą rys działalności filozoficznej i literackiej jubilata, opinie krytyków zagranicznych o jego twórczości i kilka większych rozpraw treści rozmaitej; fundacyę stanowić ma stypendyum, którego przeznaczenie i warunki określi sam jubilat. Celem wprowadzenia w życie tego projektu przedsiębrane są odpowiednie u właściwej władzy starania. Redakcyą książki jubileuszowej zajmują się pp. Antoni Gustaw Bem, Piotr Chmielowski, Jan Karłowicz, Stanisław Krzemiński i inni.

Postępowe żywioły poznańskie i galicyjskie powinny szerszy wziąć udział w jubileuszu człowieka potężnego talentu, człowieka, który wytrwał na posterunku dzielnego szermierza wolnej myśli przeciw coraz to bardziej szerzącym się prądom reakcyjnym.

* * *

Znakomicie redagowany dwutygodnik krakowski „Świat“ przestaje wychodzić po 8 latach istnienia.

* * *

Nr. 12 lwowskiego tygodnika „Monitor“ wyszedł i zawiera:

O opinii publicznej. — Przed generalnym referatem. — Ruscy radykali wobec wyborów. — Listy z kraju. — Harmonia wieku (wiersz). — Niższość kobiety. — Chmielowski o Rossowskim. — Fejleton: „Z szarych końców“ przez Lucyana ze Swirza.

* * *

Przekłady. Znana tłómaczka powieści polskich na język niemiecki, p. Laura Brix, która przyswoiła literaturze niemieckiej powieści Orzeszkowej „Eli Makower“ i „Meir Ezofowicz“, bawiła w tych dniach w Krakowie i uzyskała od p. Sewera pozwolenie na przetłomaczenie najnowszej jego powieści „Biedronie“. Taż sama tłomaczka przystąpi również niebawem do przekładu powieści „Nafta“, oraz nowel „Wiosna“ i „Konkurs“. Równocześnie czeska „Politik“ zamieściła bardzo ładny przekład znanej noweli Sewera: „Jedna noc w Londynie“.

* * *

Romans mistyczny. W najświeższym czasie zjednała sobie rozgłos niepospolity książka J. K. Huysmans'a p. t. „En route“. Autor jest wielkim artystą pod względem stylu i obrazowania, lecz w utworach jego odczuwa się brak szczerości. Tłuściutki, różowy, zamiłowany w dostatkach p. Huysmans, który w życiu codziennem jest systematycznie chodzącym do biura urzędnikiem o wesołem usposobieniu, przemienia się w pesymistę lub mistyka siadłszy z piórem autorskiem w ręku i pisze wtedy zawile i tajemnicze dzieje dusz ludzkich, odsłania przed czytelnikami okropności zażegnywań, uroków, czarów, przepaściste głębie i zaułki rzeczy nadprzyrodzonych. O książce jego ostatniej, która jest niby „Drogą ku niebu“, Lucyan Descave tak się wyraża: „Przeczytałem „En route“ i porównać mogę treść oraz styl tego utworu do mistycznego, schorzałego kwiatu, który został ścięty i dogorywa w pyszněj piękności wazonie. Wazon ten jest arcydziełem sztuki snycerskiej i na nim się skupia cała uwaga, pomijając kwiat, który się z niego wychyla“. Zaś Clemenceau tak mówi o prądzie mistyczno-erotycznym, który chorobliwie odzywa się w sztuce i literaturze chwili obecnej: „Zwolennikami mistycyzmu są przeważnie ludzie niedomagający umysłowo lub też rozpróżniaczeni, którzy wytworzyli metodę w tym kierunku. Minie to, bo rzeczy zamarłe nie wracają do życia i łudzić mogą tylko zdaleka łachmanami swego całunu“.

---

*) Znany z skandalicznego procesu dramaturg angielski. Przyp. Red

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne** Komisya budżetowa austryackiej izby deputowanych przyjęła pozycyę gimnazyum w Cylei Wskutek tego podał się książę Windischgraetz wraz z całym gabinetem do dymisyi. — Związek kupiecki w Lubece przyjął wniosek izby handlowej, potępiający wszelkie starania o zaprowadzenie podwójnej waluty. — Uroczystości otwarcia kanału bałtyckiego nie zmącił dotychczas żaden rozdźwięk polityczny. Mowa cesarska była apoteozą idei europejskiego pokoju. — W Lipsku skończył się nareszcie strejk mularzy. Sąd polubowny zawyrokował, że przedsiębiorcy mają płacić za godzinę pracy do końca września 42 fen., od października do końca marca 43 fen., od 1 kwietnia roku przyszłego 45 fen. Robotnicy odbyli wielkie zebranie, na którem zgodzili się na wyrok sądu polubowego. — Eksport cukru z Niemiec za granicę powiększył się znacznie w ostatnich czasach. W maju r. b. wywieziono 1,229,575 podwójnych centnarów, podczas gdy w maju roku zeszłego eksport tego artykułu wynosił tylko 516,554 podwójnych centnarów, a więc o połowę mniej.

*** Teatr i muzyka**. Gabryela Zapolska zamierza wystąpić w Warszawie w „Madame sans Gene“. Donoszą również, że jeden z teatrów warszawskich wystawi „Kaśkę Karyatydę“ Zapolskiej, przerobioną odpowiednio na utwór sceniczny. Dobrze byłoby, gdyby dyrekcya poznańska postarała się o zaangażowanie utalentowanej artystki na kilka gościnnych występów z początkiem zimowego sezonu. — Trupa poznańska, podróżująca po prowincyi, ma podobno zamiar udać się na 4 tygodnie do Kalisza. — Modrzejewska wystąpiła po raz pierwszy na scenie lwowskiej w roli „Księżny Jeżowej“. — Między „Kuryerem Lwowskim“ a „Gazetą Narodową“ toczy się ciekawa polemika w sprawie budowy nowego teatru we Lwowie. Pierwszy wywodzi z zupełną słusznością i obfitym zasobem przekonywających argumentów, że konkurs na budowę monumentalnego gmachu powinien mieć charakter narodowy, czyli uwzględniać tylko polskich architektów. Druga natomiast broni zawzięcie konkursu kosmopolitycznego. — Przedstawienie „Balladyny“ w Paryżu (przekład Gasztowta, układ Martiala Teneo) wywarło niezbyt korzystne wrażenie na Francuzów. Większość krytyki z Katulem Mendesem na czele dopatruje się w dziele Słowackiego jedynie chaotycznego naśladownictwa Szekspira, zastrzegając się z góry, że specyalnych cech narodowych nie rozumie; nieliczni, jak „Echo de Paris“, jak Felicyan Pascal w „Libre Parole“ oceniają — niedostatecznie, lecz o ile ich stać na to — poetycką wartość dzieła.

*** Sztuka**. W pracowni panny Maryi Kremer oglądaliśmy akwarelę dość wielkich rozmiarów, przedstawiającą lilie. Obraz ten, posiadający niezwykłe zalety artystyczne, przeznaczony jest na wystawę poznańską. W swoim czasie poświęcimy mu zatem obszerniejszą wzmiankę, — dziś jednak już nadmieniamy, że jest to utwór pierwszorzędnej wartości i potwierdza ustaloną opinię, że kwiaty artystki poznańskiej należą do najwybitniejszych utworów tego zakresu.

*** Wyższe wykształcenie kobiet i małżeństwo**. W czasopiśmie angielskiem „Nineteenth Century“ rozbiera pani J. E. H. Gordon zajmującą kwestję, czy kobiety z wyższem wykształceniem wychodzą zamąż, i wykazuje, iż większość ich nie szuka dozgonnego towarzysza życia. Z panien, które kończą studya w Girton Gollege w Cambridge wstępuje w związki małżeńskie jedna na dziesięć. Najmniejszego kontyngensu mężatek dostarczają kobiety, które studyowały języki średniowieczne i nowożytne. W Sommerville-College w Oksfordzie dzieje się tak samo. Większość kobiet, która je kończy, zostaje nauczycielkami. Od r. 1871 skończyło Newnham College kobiet 720; z tych 374 jest teraz nauczycielkami lub lektorkami; 20 wywędrowało do Ameryki lub kolonii; dwie zostały lekarkami, dwie misyonarkami, jedna ogrodniczką, jedna introligatorką, dwie mają posady w towarzystwach dobroczynnych, a reszta miejsca sekretarek. Z 85 kobiet, które skończyły studya matematyczne w Newnham, 5 tylko wyszło dotąd zamąż, z 65, które skończyły studya klasyczne — 8, z 33 studentek filozofii — 6, z 64 przyrodniczek — 10, z 64 historyczek — 9, a z 38 kobiet, które studyowały języki średniowieczne i nowożytne tylko jedna wstąpiła w związki małżeńskie.

Zmarli:

*** Manuel Ruiz Zorilla**, autor broszury „Trzy przeczenia i jedno twierdzenie“, skierowanej przeciw neokatolikom, były minister robót publicznych w Hiszpanii, prezes kortezów, deputowany Madrytu, gorący stronnik partyi republikańskiej, — zm. przed kilku dniami jako wygnaniec na francuskiej ziemi.

BIBLIOGRAFIA.

Zygmunt Korosteński. Potrzeba związków naszych towarzystw przemysłowych i handlowych oraz wyższej organizacyi stowarzyszeń naszych w ogóle. Lwów, 1895.

Szczęsna. Złote myśli Adama Mickiewicza. Kraków, 1895. Wydanie drugie

Wacław Berent. Fachowiec. Powieść. Warszawa, 1895.

Kazimierz Gliński. Budowniczy szczęścia. Powieść Warszawa, 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

Fl. K. Prosimy o cierpliwość. Artykuł zamieścimy niebawem, — zastrzegamy sobie jednak pewne skrócenia.

M. Premii dotychczas „Przegląd“ nikomu nie udzielał Dzieło Falkenberga można nabyć za pośrednictwem naszej redakcyi, — charakteru premii jednak dzieło to nie posiada

Mieczysław. Utworów nadesłanych zamieścić nie możemy. Życzeniu Pańskiemu, aby „wskazać dokładnie błędy i zalety poezyi w razie odrzucenia“ uczynimy zadość listownie, jeżeli Szanowny Pan raczy odsłonić anonim.

O. O. W pogłoskach tych nie ma ani słowa prawdy. Są to próbki zakulisowej roboty naszych przeciwników politycznych, którym „Przegląd“ staje się z dnia na dzień niewygodniejszym. Te żywioły, z któremi walczymy, posługują się wszędzie równą bronią, — fałszem, podstępem, kalumnią, — a napaści ich stają się tem zuchwalsze, im skuteczniej i energiczniej znienawidzeni przeciwnicy spełniają zadanie swoje. Proces ten powtarza się wszędzie z małemi zmianami, ilekroć myśl postępowa i narodowo-demokratyczna rzuci rękawicę reakcyi i kłamstwu „trzech lojalności“.

Za słowa uznania dziękujemy serdecznie.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 26. Poznań, Niedziela 30. czerwca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚC.

Przesilenie ekonomiczne w rolnictwie i wniosek hrabiego Kanitza.

I.

Pan minister rolnictwa na posiedzeniu sejmu pruskiego z dnia 29 stycznia r. b. wyraził się o kryzysie w rolnictwie w sposób następujący:

„Rząd pruski uznaje w zupełności i w jak naiszerszym zakresie, że rolnictwo przebywa poważne przesilenie. Kraje po tamtej stronie Elby nie są w tej chwili tak dotknięte przez nie jak wschód monarchii, ale nie łudźmy się! Jeżeli stagnacya w uprawie buraków, w cukrownictwie będzie rozwijała się dalej w tych co dotąd rozmiarach, w takim razie kryzys nastąpi również w zachodniej części królestwa i być może stanie się groźniejszą jeszcze niż kryzys powolna na wschodzie. (Głosy na prawicy: bardzo słusznie). Ale czyż ta kryzys agrarna ogranicza się na Prusiech, na Niemczech? Spojrzyjcie panowie na Rosyę, Anglię, Francyę, Amerykę, Włochy, wszędzie znajdziecie takie same, w niektórych krajach, być może, groźniejsze przesilenie. Podczas gdy u nas w publicznych instytucyach kredytowych i hipotecznych zaległości czynszowe wahają się pomiędzy 2—6 proc., podług notatek, jakiemi rozporządzam, zaległości te wynosiły w Rosyi za rok przeszły 65 proc. (Prawica: słuchajcie, słuchajcie!) W Anglii stosunki rolnicze są również opłakane jak u nas, a przecież Anglia od lat dawnych trzyma się wręcz odmiennego systemu ekonomicznego. Rosya, w której zdawien dawna panuje protekcyonizm, znajduje się w położeniu gorszem od nas, Anglia ze swoją teoryą manchesterską również. We Francyi, która posiada autonomiczną taryfę celną — dzieje się nie lepiej. Stąd wniosek, że nie osoby pojedyńcze ani systematy gospodarcze są winą klęski. Jest ona międzynarodową. Wynika ztąd również, że nie łatwo znaleść można środki zaradcze. Lecz więcej jeszcze: kryzys ta dotyczy nietylko rolnictwa, panuje ona jednocześnie w przemyśle i w handlu i należy wystrzegać się takich środków, które pomagając jednej gałęzi, szkodzą innej. Musimy konkurować z krajami, które produkują przy znacznie niższych kosztach wytwórczych. Czy uda nam się obniżyć nasze koszta wytwórcze do poziomu tych krajów konkurencyjnych, wydaje mi się wątpliwem. Cała produkcya została doszczętnie zmienioną wskutek postępów w nawożeniu, w technice maszynowej, a nie ulega kwestyi, że przejście od jednego rodzaju produkcyi do innego ciągnie za sobą doniosłe skutki, i że ten przewrót nie odbywa się szybko. — Najtrudniejszą okolicznością dla walki konkurencyjnej jest, że odległości właściwie już nie istnieją. Ameryka, przecięta drogami rzecznemi aż do wnętrza południowo-wschodnich obszarów, jest w stanie dostarczać produkty swoje na nasz rynek przy tańszych kosztach przewozowych, aniżeli je dostarczyć może wschodnia część monarchii pruskiej do zachodniej. (Prawica: bardzo słusznie!) Argentynia wyprzedziła swoim olbrzymim eksportem pszenicy kraje, z któremi zawarliśmy traktaty handlowe. — To nasuwa poważne rozmyślania, to świadczy również, że wobec przesilenia teraźniejszego, którego powody noszą charakter mniej lub więcej międzynarodowy, trudno bardzo o środki zaradcze“.

W dalszym ciągu swej mowy pan minister wzywał do pracy i oszczędności, przypominając piękną sentencyę biblijną: „w pocie czoła chleb twój jeść będziesz“. Wówczas głosy prawicy już nie wtórowały mu zgodnym chórem, a kiedy doszedł do ostatecznego wyniku, że „trzeba oczekiwać cierpliwie przebiegu kryzys“, chór prawicy szemrać począł wyraźnie. Nie pomogły obietnice hojnych wsparć dla producentów gorzałki i cukru. „Zboże, zboże“! wołali wtedy natarczywie agrarczycy. Nie pomogła nawet wzniosła rada, aby w Panu Bogu pokładano jedyną nadzieję; pobożna prawica szemrała.

Nie dziwmy się natarczywości tych panów, dla wielu z nich bowiem chodzi tu rzeczywiście o być lub nie być. — Że kryzys istnieje, o tem pan minister zaiste przekonywać nie potrzebował nikogo. Po części miał też zupełną słuszność co do przyczyny tej kryzys. Co zaś do rady, aby „cierpliwie przeczekać“ obecne przesilenie, to ona wypowiada tylko w innych wyrazach, że pan minister środka zbawczego nie widzi. Dla agrarczyków musiała ona brzmieć jak gorzka ironia, bo jeszcze rok lub dwa, a wielu producentów zboża, wielu posiadaczy wielkich majątków czekać nie będzie w stanie. Położenie więc jest bez wyjścia.

Stwierdzimy to jeszcze cyframi wymowniejszemi od pruskiego ministra nawet. — Londyński „Economist“, jedno z najpoważniejszych czasopism ekonomicznych, zajmujące się specyalnie kwestyami handlu zbożowego, zestawia ceny pszenicy w ostanich latach. Oto rezultat: od 1891 do 1894 cena pszenicy spadła o 42,03 proc. (z 34 sh. 7 d. za quarter w roku 1891 do 14 sh. 7 d. w r. 1894) w Londynie. W Berlinie w sierpniu 1891 r. płacono za tonnę 236 mrk. 19 fen., w sierpniu 1894 135 mrk. 11 fen.; tu więc cena spadła o 42,80 proc. Produkcya wszechświatowa wynosi 300 milionów quarters, a więc wartość w przybliżeniu wynosiła w r. 1891 (licząc po ówczesnej cenie 34 sh.) 510 milionów funtów szterlingów. Ta sama ilość w roku 1894, licząc nawet po 20 sh., przedstawia wartość 300 milonów, a więc wartość obniżyła się o 42 proc., czyli o 210 milionów funtów szterlingów, czyli o 4 miliardy 200 milionów marek! To nie rewolta, to rewolucya — na rynku. Co ją spowodowało? Nadmiar produkcyi. W r. 1893 zbiór pszenicy przewyższał zbiory przeciętne o 25 mil. quar.; wynosił bowiem 299 mil. quar. Na rok 1894 zbiór wynosił jeszcze więcej, bo 302 mil., prócz tego znajdują się jeszcze olbrzymie zapasy zboża w Ameryce, w Rosyi, w Indyach. Ta obfitość w części jest skutkiem hojności natury. Szczególnie stosuje się to do Stanów Zjednoczonych, gdyż podług obliczeń departamentu rolnictwa przestrzeń zajęta pod uprawę nie powiększyła się, lecz zmniejszyła: 39 i pół mil. akrów w r. 1884, w ostatnich trzech latach 37 i pół, a w r. przeszłym już tylko 33 mil. akr. Urodzaj zaś w r. 1891 był niebywale obfitym, w . r1892 nadzwyczajnym, w latach

93 i 94 więcej niż przeciętnym. W części jednakże ten potop zbożowy zawdzięczamy pojawieniu się na rynku zbożowym nowych producentów: Indye, Australia, Egipt, Argentynia. Ostatnia eksploatowała w roku 1892 2 miliony quar., w r. 93 4 i pół miliona, w r. 94 6 mil. i produkcya tamtejsza w najbliższych latach wzrastać jeszcze będzie, gdyż kraje Laplaty nadają się jak żadne inne do uprawy pszenicy; gospodarkę prowadzi się tam w sposób rabunkowy, ale ziemia niemal dziewicza wiele jeszcze wytrzyma, a robotnik (po większej części wychodźcy włoscy) jest niezmiernie tani. Urodzaje w Indyach od roku 1891 stale przewyższają przeciętne. To skłoniło do uprawy na wielką skalę i ta uprawa trwać będzie dalej.

To jest wymowa cyfr. Co będzie w roku bieżącym, co będzie na przyszłość? Trudno tu prorokować. Możliwem jest, że produkcya Stanów Zjednoczonych zmniejszy się, gdyż i ztamtąd dochodzą już wieści zatrważające. Ceny zaczynają nie pokrywać kosztów produkcyi na mniej urodzajnych gruntach, wobec czego występuje wyraźnie dążenie do zmniejszenia produkcyi. Ale łatwiej postanowić to niż uczynić, gdyż w gospodarstwie rolnem a szczególniej w gospodarstwie forsownem, prowadzonem olbrzymim nakładem kapitału, jak w Ameryce, nie przeprowadza się zmian z dziś na jutro. Argentynia zaś, Indye, Egipt, Australia raczej powiększać będą w latach najbliższych swoją produkcyę. Są nawet ekonomiści, którzy przewidują donioślejsze jeszcze niż dotąd skutki tej konkurencyi naszych krajów z dziewiczą ziemią. Tak n. p. Fryderyk Engels powiada:

„Uprawa tych stepów, prairyj, pampasów, uanosów etc. dopiero się rozpoczęła; jej działanie rewolucyonizujące wobec rolnictwa europejskiego da się we znaki jeszcze w daleko wyższym stopniu na przyszłość“. (W przypisku do III tomu „Kapitału“ Marxa. II część stron 210).

Tymczasem koszta produkcyi pszenicy w Anglii przy najbardziej postępowem gospodarstwie wynoszą 30 szylingów za quarter, cena zaś 15 sh., trzeba więc, żeby cena podniosła się przeszło o 100 proc., zanim te gospodarstwa mogłyby produkować z korzyścią. To samo stosuje się do Niemiec, gdzie podług obliczenia hrabiego Kanitza dopiero cena 21 mrk. za centnar pozwalałaby produkować z zyskiem, podczas gdy cena rynkowa wynosi 13,50 mrk. Takie podwyższenie cen mogłoby nastąpić jedynie wskutek znacznego ograniczenia produkcyi w krajach eksportujących, o jakiem w najbliższym czasie marzyć nie można, albo wskutek — nieurodzaju powszechnego. Ześlij, Panie Boże, nieurodzai, inaczej klęska grozi — oto konkluzya, oto wniosek, do którego prowadzą cyfry. Urodzaj podkopuje byt rolnika, ten parodoks jest ostatnią konsekwencyą, jaką wyciągamy z faktów. Postęp ekonomiczny grozi ruiną całej klasie wytwórców. Gdyby zdanie takie powiedziano jakiemu poczciwcowi, który żył przed 300 laty, zawołałby cyrulika, aby krew puścił mędrcowi, co do takich doszedł wniosków. A jednak — fakty są niezbite i nasze mózgi w porządku, a ów parodoks jest tylko stwierdzeniem dyalektyki rozwoju ekonomicznego, który dąży naprzód, siejąc po drodze klęski. O, ten rozwój doprowadza do dziwniejszych jeszcze objawów. „Economist“ twierdzi, że w ostatnich latach mamy nadprodukcyą zboża, a „Economist“ jest najpoważniejszem pismem angielskiem. Pójdźmy jednakże na Kujawy, a zobaczymy dzieciaki wiejskie, którym brzuchy obrzękły od ziemniaków, bo na chleb ojców nie stać. Pójdźmy na Szląsk, a wyrobnicy powiedzą nam, że chleb za drogi i dla tego wyżyć z zarobków nie można. Pójdźmy w okolice Częstochowy, a zobaczymy chleb czarny jak święta ziemia, bo mieszają doń wszelkie paskudztwo, byle przebyć głodny czas na przednówku. Pójdźmy do Galicyi, a dowiemy się, że ludzie nie jedzą chleba tylko ziemniaki i kluski, bo chleb zbyt drogi. Czy to chłop polski taki głupi, czy też Anglik tumani? Nie, Anglik mówi prawdę, a oni nie jedzą chleba, bo go nie ma za co kupić. I nie tylko chłopi polscy nie wiedzą o tem, że na świecie jest hyperprodukcya zboża; — ich towarzysze z farm amerykańskich na zimę stają się włóczęgami, mrą literalnie głód i buntują się, o czem niedawno donosił „Times“. To wszystko jest bardzo logiczne! — Ale, ale, jeżeli nas pamięć nie myli, to w r. 1891—92 był głód w Rosyi, srożył się tyfus głodowy, ludzie marli jak muchy. A „Economist“ twierdzi, że właśnie rok 1891 odznaczał się urodzajem fenomenalnym, że wiele zboża pozostało na składzie. Dziwne dziwy! Może to tam zboża nie można było dostarczyć? O nie. Pan minister twierdzi, że „rozwój dróg komunikacyi przyczynił się do zniżki cen“. To stosuje się również do Rosyi. Dowóz tam nie jest tak łatwy jak w Ameryce, poprzecinanej rzekami i kanałami, ale jest możliwy. Tylko Iwany i Mikołaje nie mieli pieniędzy, żeby kupić taniej pszenicy, i dla tego kupcy w Odesie, Rydze i Warszawie przed zamknięciem granicy woleli dniem i nocą transportować zboże na przepełnione wskutek hyperprodukcyi rynki europejskie, niż posłać je tym głodnym Iwanom i Mikołajom, co zapomnieli zaopatrzyć się w gotówkę. Nieopatrzny naród!

Tu mieliśmy do czynienia z produkcyą rolną zależną od urodzajów. Widocznie matka natura na starość nie wie, co robi. Zwróćmy się więc do przemysłu, do fabryki, gdzie, jak zapewnia nas ekonomista angielski pan Ure, odzwierciadla się boski porządek rzeczy, gdzie wszystko odbywa się zupełnie zgodnie z rozumem. — Otóż prof. Conrad dowodzi (Jahrbücher für Nationalökonomie und Statistik, zeszyt na luty 1895 r), że zniżka cen wytworów rolniczych odpowiada ściśle zniżce cen wytworów przemysłu. Ta zniżka cen, jak dowodzi p. profesor (a jest on poważnym badaczem, mającym firmę uznaną w świecie naukowym), jest spowodowana nadprodukcyą we wszystkich prawie gałęziach. A więc mamy nadto wyrobów żelaznych, nadto płótna i sukna, nadto mebli i t. d., mamy wszystkiego nadto. Tymczasem na całym świecie strejkują bezustannie robotnicy, twierdząc z taką samą słusznością, że nie mogą pokryć niezbędnych wydatków, tymczasem na całym świecie wszyscy się skarżą. że „czasy są ciężkie“. Ludzie nie mają butów i koszul, mieszkają źle, żywią się źle, a na świecie jest hyperprodukcya. Więc i tu to samo. Postęp doprowadził do kryzysu, obfitość sprowadza klęskę. Musimy więc przyznać słuszność słowom pana ministra: „wobec takiego położenia rzeczy niełatwo o środki zaradcze“. A nawet powiedzmy wyraźnie: wobec takiego położenia nie ma środków zaradczych, a przynajmniej nie ma takich, jakieby można zadekretować z krzesła ministeryalnego. Klęski, jakie szerzy postęp ekonomiczny, on sam jedynie naprawiać może. W dalszym rozwoju zmieni on stopniowo stosunek wzajemny klas społecznych i doprowadzi do innych form podziału, a tym sposobem stworzy odpływ dla nadprodukcyi, którą wywołuje dziś z konieczności. Tak było dotąd, tak będzie w przyszłości. Lecz zmian tych z dziś na jutro nikt zadekretować nie może; społeczeństwo musi dojść do nich samodzielnie. Kiedy więc dojdzie? Nieprędko zapewne. W każdym razie rada pana ministra, by „przeczekano“ obecne przesilenie, jest platoniczną. Przesilenie to nie jest z tych, które przemijają prędko. Wogóle jeszcze przed kilkunastu laty przypuszczano, że ruch ekonomiczny odbywa się w cyklu: ożywienie w produkcyi, ztąd nadprodukcya, następuje stagnacya, trwająca lat kilka, powoli stosunki normują się, rynek przychodzi do równowagi, powoli zaczyna się znów ożywienie, ruch coraz się przyspiesza i doprowadza do nowego przesilenia. Dziś zdanie takie nie da się już utrzymać, dziś mamy hyperprodukcyą stałą,

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

— Ależ Engelko, co ty wyprawiasz! rzekł śmiejąc się wesoło.

Podeszła teraz do niego.

— Jestem dziś tak czegoś zadowolona! — rzekła, a oczy rozpromienione świadczyły o tem wymownie.

— Dlaczego to Engelko?

— Nie wiem sama — to pewnie z powodu pięknej pogody. Zobacz, jakie mam zimne ręce! — Mówiąc to podała mu obie ręce.

— Biedne moje stworzenie! — zawołał ujmując je w swoje dłonie; rozcierał je delikatnie i pocałunkami rozgrzewał. — Jaki też Pan Bóg nielitościwy, że pozwala tak zmarznąć mojej małej dzieweczce!

— I ja dla Pana Boga nie lepsza, to się wyrównywa! zaśmiała się Engelka, lecz przy słowach tych się zarumieniła. — Zresztą cudowny jest taki mroźny dzień! tak świeżo, tak lekko jakoś człowiekowi! myśli się wtedy o wiośnie i o wszystkiem tem pięknem, co wraz z nią nastąpi!

— Co rozumiesz przez to piękne, co ma nastąpić, Engelko?

— No, kwiaty naturalnie, ciepło i to wszystko. —

— Nic więcej? — uśmiechnął się znacząco.

Twarz jej oblał rumieniec od brzegu włosów jasnych do oplatającego szyję kołnierzyka sukni; ujęła twarz w obie ręce, jak zwykła to czynić, gdy czuła, że się rumieni.

— No tak — odpowiedziała cicho.

Objął ramieniem jej kibić i z lekka pociągnął ku sobie.

— Engelko! — rzekł tuląc ją do siebie — nie bywam nigdy sentymentalnym, ale Ty nie wiesz jakiem szczęściem napełnia mnie myśl o przyszłości. Gdy myślę o przyszłem naszem pożyciu — wszystko wydaje mi się jasnem, promiennem, dzięki tobie jedynie! Mogę powtórzyć za poetą: jesteś jutrzenką na horyzoncie życia mego! Pomyśl, jak daleko w rozwoju naszym dojść możemy, idąc ręka w ręka; zbudujemy małą świątynię wśród całej tej głupoty i powszedniości naszego otoczenia — myśli nasze polepszą się i uszlachetnią — wydoskonalą uczucia nasze! a życie w pełni z tą dopiero rozpocznie się chwilą! A potem coraz wyżej dążyć będziemy w rozwoju naszym, bez wytchnienia! Coraz będziemy bogatsi, coraz zasobniejsi, nieprawdaż Engelko?

Nie odpowiedziała zaraz; wsparta o jego ramię, mechanicznie obracała w palcach jego łańcuszek od zegarka.

— Dlaczegoż nie miałbyś być szczęśliwym, uczynię wszystko, co w mojej będzie mocy, ażebyś nim był rzeczywiście.

— Jesteś moją dobrą dziewczynką — wiem o tem, ale to nie dosyć, ażebym ja był szczęśliwym, i Ty nią być musisz, moje dziecko!

— O mnie nie ma mowy, — rzekła z uśmiechem.

— Co to znaczy? Co przez to rozumiesz? Przecież o nikim innym nic mówiłem przed chwilą? Musisz być uczestniczką mego szczęścia; w domu naszym, w salonie Tobie oddaję berło rządu. Mówiliśmy już o tem przecie. Raz w tygodniu przyjmujemy u siebie, wtedy zbiorą się u nas wszyscy wybitniejsi literaci, uczeni, artyści, kobiety piękne — jednem słowem wszyscy co na miano człowieka — w pełnem tego słowa znaczeniu — zasługują. Ty, rozumie się przewodniczysz, już sobie wyobrażam, jak ci z tem będzie do twarzy Engelko!

Siedzisz spokojna w twej sukni białej, — świetlana postać, podobna do jasnego promienia rembrandtowskiego na ciemnym tle fraków otaczających cię mężczyzn. Sama nie wiele mówisz. Kierujesz tylko rozmową, wtrącając od czasu do czasu jakieś słówko, które nowe, zajmujące konstelacye wprowadza, — jak w kalejdoskopie... znane ci są przymioty i talenty wszyst-

tak że nawet trudno właściwie dziś już mówić o „kryzisie". Skutek jest ten, że zaostrza się antagonizm klas i stanów, walka staje się coraz bardziej zaciętą. Powtarza się obraz przy tonięciu okrętu: każdy chwyta się czołna lub belki nawet i biada, kto mu ją chce wydrzeć. Wobec niechybnej zguby giną lepsze instynkta i zaczyna się walka o śmierć i życie, zacięta walka wszystkich przeciw wszystkim. Taką walkę przeciw wszystkim toczą teraz agrarczycy obstając za wnioskiem hrabiego Kanitza, bo wniosek ten nie jest niczem innem, jak dążeniem do nałożenia ciężarów innym na swoją korzyść.

I. B. M.



Z najnowszych dziejów Szląska,

napisał

Szlązak.

IV.

Ma się rozumieć, że, mimo braku własnej polskiej inteligencyi niemieckie stronnictwo Centrum nie byłoby się u nas tak rozpanoszyło, gdyby nie wpływ księży naszych. On to stanowi ów kit, łączący polskich wyborców z niemieckiem stronnictwem, kit, który wprawdzie w ostatnim czasie już w kilku miejscach popękał, który atoli w innych miejscach jest jeszcze tak mocnym, że zupełnie lekceważyć go nie można. Ale, aby zrozumieć, dla czego to księża górnoszląscy tak się upierają przy stronnictwie centrum, a tak nienawidzą samej już myśli przyłączenia się w danym radzie do równie katolickiego Koła polskiego, trzeba znać ich usposobienie, i dla tego w krótkich słowach pozwolę sobie usposobienie to scharakteryzować. Na przeszło 600 księży w powiatach górnoszląskich jest może dzisiaj zdeklarowanych narodowców zaledwie kilku; — takich, którzy w głębi serca uważają się za Polaków i którzy niby nie mieli przeciwko połączeniu Szląska pod względem polityczno-wyborczym z Wielkopolską, którzy atoli liczą się ostrożnie z prądem, wiejącym z Wrocławia, jest może z sześćdziesięciu, — a więc co najwyżej 10 proc. Reszta przyznaje się otwarcie do narodowości niemieckiej, jakkolwiek w połowie pochodzi z ludu polskiego, z rodziców mówiących wyłącznie po polsku. Zniemczyła ich szkoła niemiecka, zniemczyły ich zwłaszcza gimnazya, które na Szląsku posiadają tradycyjną wprawę w germanizowaniu dziatwy polskiej, w odwodzeniu jej od mowy i obyczajów ojców. Dziecko włościanina, uczęszczające do niemieckiej szkółki wiejskiej, pozostaje bądź co bądź w rodzinnem, polskiem otoczeniu, wraca ze szkoły do polskiego domu rodzicielskiego, obraca się wyłącznie w kole podobnie myślących rówieśników, a przy dzisiejszej tresurze szkolnej nie zdobywa sobie do tyla znajomości niemieckiego języka, iżby mogło w nim zasmakować. Gimnazyasta natomiast wychodzi z domu rodzicielskiego na czas dłuższy, dostaje się w towarzystwo niemieckich lub zniemczałych synów mieszczan i urzędników, którzy przy każdej sposobności i tak długo wyszydzają jego właściwości i nawyknienia polskie, aż się sam ich wstydzić zacznie, wreszcie z konieczności rzeczy przyswoić sobie musi gruntownie język niemiecki, który następnie, jako klucz do nabywanej stopniowo wiedzy, polubi. Język polski, wyniesiony z domu, a obejmujący jak każdy język chłopski, stosownie do ciasnego zakresu pojęć i stosunków tego stanu, szczuplejszą ilość wyrazów niż język wykształcony książkowy, nie wystarcza do określenia pojęć trudniejszych, abstrakcyjnych. Codziennie też słyszy z katedry zapewnienie, że to nie język, jeno gwara zepsuta, skazana na wymarcie, bez możliwości wykształcenia i bez literatury. Więc powoli zaczyna myśleć po niemiecku, a przy sztucznem rozbudzaniu patryotyzmu prusko-niemieckiego i na wewnątrz przerabia się na Niemca. Znam u nas prymanerów, synów chłopów polskich, którzy, wróciwszy na wakacye, biją młodsze rodeństwo za to, że po polsku do nich przemawiają, zaś powaga ojca-prostaka nie wystarcza na przekonanie i nawrócenie zwyrodniałego syna. Ot taki proces wychowawczo-psychiczny przechodzi całe duchowieństwo górnoszląskie, więc dziwić się nie można, że z wyjątkiem jednostek, które zachowanie narodowości przyrodzonej zawdzięczają wyjątkowo szczęśliwym okolicznościom, większość duchowieństwa zalicza się do narodowości niemieckiej.

Władza książęco-biskupia nie dba niestety w należyty sposób, aby młodzi klerycy na uniwersytecie i w alumnacie przyswoili sobie język polski, i tak młodzi kapłani, przybywając po wyświęceniu do polskich parafii, pamiętają ledwie kilka zdań, zwrotów i nieliczny zasób słów polskich. Jakże tu w takich warunkach może być mowa o dobrem kazaniu lub słuchaniu spowiedzi? Księża ci sami to czują, że żywem słowem nie zdołają wpłynąć na lud, bo chociaż posiadają wszelkie dane na dobrych kaznodziejów, braknie im słów do wypowiedzenia myśli. Więc zastępują brak ten sztucznem pomnażaniem swej powagi kapłańskiej, zewnętrznemi formami i ceremoniami, ale środki te naturalnie po największej części pozostają bez skutku. Sławiona religijność ludu górnoszląskiego podobna jest też do jego lojalizmu, — jest poniekąd także zewnętrzna, gdyż bez żywego słowa nie zdołała dotrzeć do głębi. A powaga duszpasterzy trwa tak długo, dopóki pełnią oni wolę ludu, lub dopóki jakie wpływy przeciwne nie wchodzą w rachubę. Gdy te się pojawią, natenczas księża tracą najzupełniej wpływ na lud, a ostatecznie zdarzają się takie zajścia, jak świeżo smutne wypadki *w Mikulczycach* pod Bytomiem. To też jednem słowem wpływ księży górnoszląskich na lud jest tylko wpływem duszpasterzy, — a nigdy prawie wpływem osobistym.

Ma się więc rozumieć, że dla tych księży jest stronnictwo centrum jedynie możliwą organizacyą polityczną.

Jak bowiem z jednej strony wobec ludu polskiego zastawić się mogą tym paragrafem programu, który żąda przywrócenia języka polskiego co najmniej przy nauce religii, — tak z drugiej strony znów mogą śmiało odwoływać się na swój patryotyzm niemiecki, którego centrum nigdy się nie wypierało. Jest to więc po prostu płaszcz na obu ramionach bardzo wygodny i dla tego tak duchowieństwu górnoszląskiemu sympatyczny. Jednakże większa część księży górnoszląskich z głębi serca niczego goręcej nie pragnie, jak wymarcia języka polskiego i w tym duchu postępuje krok w krok z stronnictwem centrum. *Faktem bowiem jest niezbitym, stwierdzonym licznemi dowodami, że stronnictwo centrum jest tak samo przeciwne rozwojowi polskości na Górnym Szląsku, jak rząd. Centrum pragnie zachować język polski ludu tylko tak długo, dopóki pod presyą stosunków sam nie wymrze, ale z wściekłą zaciętością zwalcza wszelkie zakusy, zmierzające nietylko do podtrzymania, ale do odrodzeniu polskości Szląska!* Jest w tem pewna racya polityczna, boć nie ulega wątpliwości, że skoro duch polski u nas się wzmoże, — centrum zniknie zupełnie z widowni politycznej.

Ta tendencya germanizatorska stronnictwa centrum jest tem niebezpieczniejszą, bo ukrywa się pod maską obłudnej życzliwości i posługuje się ku swym celom wiarą i Kościołem. Zaczęła ona, jak to już w poprzednim artykule powiedzieliśmy, objawiać się zaraz po zwolnieniu walki kulturnej, gdy centrum, zwłaszcza z chwilą upadku Bismarcka zaliczono znów „zu den

---

kich twoich gości i starasz się, by zabłysnąć mogły, — jednem słowem: „une femme suggestive". Opanowujesz salon, jak francuskie damy zeszłego stulecia: Madame Geoffrin, Mademoiselle Quinaulte i inne. A gdy jaki duch niezgody zakradnie się do twego grona, lub gdy ojciec twój złośliwym być zacznie — wówczas wystarczy twoje: voilà qui est bien!" a wszystko wróci do dawnej harmonii. Wszyscy oddadzą sprawiedliwość twemu geniuszowi w tym kierunku. Cóż ty na to? O jedno tylko proszę cię bardzo: nie daj powodu do zazdrości, bo wtedy mogę być okrutnym — mówił żartując. — Gdyby tak n. p. zaszedł do nas wspólny nasz przyjaciel Nörgaard...

Engelke nagle zerwała się i podeszła do okna.

— Jego stanowczo nie życzę sobie u nas! — rzekła.

— Tak, słusznie, nie chcemy go widzieć u nas! — odparł.

Nastąpiło milczenie, podczas którego on z ciekawością na nią spoglądał; ona wpatrywała się w ulicę.

— Czy widzisz coś na ulicy? — zapytał.

— Nic szczególnego.

Podeszła znowu do niego i schyliwszy się po książkę, którą on był poprzednio upuścił, usiadła.

— Jak ci się podoba? — spytała, przerzucając kartki.

— Ach! nic ciekawego.

Teraz on wstał z krzesła i począł chodzić po pokoju.

— Wszystkie duńskie książki przypominają romanse Ingemanna, jakkolwiek radykalnemi okazaćby się chciały. Ciasta, które wypiekają nasi poeci, w rozmaity sposób bywają przystrajane, lecz zawartość ich, treść, zawsze pozostaje ta sama: jaja, mąka i masło, nasze dobre duńskie masło! A to mnie irytuje! Duński poeta jest czemś zupełnie stałem, niezmiennem, jednostajnem jak studnia. Ma on swoje odwieczne cnoty, które i studnia posiada; lubi naturę, tak jak przystało, serce jego bije dla maluczkich i uciśnionych, jak bić powinno, nigdy mniej lub więcej... gdyby zaś chciał kto wymienić istotną racyę jego bytu, brzmiałaby tak: uczciwa walka przeciwko obłudzie i wszelkiej niegodziwości ludzkiej, — zupełnie tak, jak największą cnotą studni jest woda, której dostarcza! Oto są cnoty dobrego duńskiego poety, lecz są one takiemi dla tego, że takich tylko wymaga się od niego.

— Widzisz, Engelko, to są rzeczy, które mnie gniewają — zaczął po chwili, usiadłszy na fotelu. — Poeta, podług mnie, powinien kochać zło dla zła samego! Nie dość jest sentymentalnie umizgać się doń, jak Baudelaire i inni, którzy na nim się wykarmili, — to za mało stanowczo; poezya, jaką ja rozumiem, winna drżącą namiętność żywić dla zła — w przybliżeniu dał nam Shakespeare taką poezyę, lecz daleko jej jeszcze do doskonałości. Moja poezya uznaje zło jako jej istotę, jako krew w żyłach, jak tchnienie jej własne. Lecz daleką jest od filozofii Mefista, ona nie wyszydza, nie ośmiesza, gdyż za wiele sobą jest zajęta, a zdawkowe pojęcie grzechu dla niej nie istnieje. Spogląda ona na świat spokojnem okiem wielkiego łotra: odkrywa występek i bezwstyd w tem nawet, cośmy cnotą nazywać zwykli.

Siedział w fotelu pochylony, zlekka się kołysząc, a mówił to wszystko głosem cichym, obojętnym, który dziwnie odbijał od silnych słów, jakie wypowiadał.

Engelke siedziała po drugiej stronie stołu. Wsparłszy głowę na obu rękach patrzała na mówiącego swemi jasnemi oczyma.

— Gdyby cię tak kto słyszał mówiącego — rzekła — pomyślałby, że sam jesteś jednym z tych złych ludzi!

— Może nim jestem, droga Engelko; skąd wiesz, że nie jestem owym wilkiem w owczej skórze?

— Jesteś zapewne bardzo dobrym chłopcem — odparła.

— Lecz skąd wiesz o tem?

— Mówiłeś przecież nieraz coś całkiem innego, coś przeciwnego zupełnie.

— To dowodzi tylko, że zarówno jednym jak i drugim być mogę.

staatserhaltenden Parteien". W centrum sejmowem wydano hasło: „Nie drażnić rządu skargami polskiemi", i w myśl hasła tego zabroniono panu majorowi *Szmuli* wystąpić w sejmie z rekryminacyami na naukę szkolną niemiecką i na postponowania języka polskiego przed sądem.

Przepraszam, że znów odbiegnę od tematu, ale zdaje mi się to być rzeczą konieczną. Czy wy znacie, bracia Wielkopolanie, p. majora Szmulę, który u nas na Górnym Szląsku zajmuje niemal to samo stanowisko jakie Parnell zajmował w Irlandyi? Zapewne wiecie, że jest dzielnym posłem do sejmu i parlamentu i że już niejednokrotnie głos zabierał w obronie ludu i języka polskiego, — ale po za tem nic więcej. Jedni domyślają się w nim już co najmniej urodzonego kontuszowca (pan major jest właścicielem obszernych dóbr rycerskich), — inni znów uważają go za Niemca, który tylko z prostej sprawiedliwości broni polskości ludu. Otóż mylą się jedni jak i drudzy, — plan major Szmula nie jest ani pierwszym ani drugim, jest Szlązakiem, i to polskim Szlązakiem, jest partykularystą szląskim, najwybitniejszym przedstawicielem tego kierunku a przytem zdeklarowanym demokratą. Pochodzi on z pierwotnie czeskiej rodziny wyznania protestanckiego i dopiero później przeszedł na łono Kościoła katolickiego. Brat jego, radzca medycynalny w Bytomiu umarł jako protestant, Niemiec, i zagorzały przeciwnik polityczny p. majora. Dosłużywszy się stopnia majora p. Szmula ożenił się i zajął się gorliwie gospodarstwem. Na widowni politycznej ukazał się pan major, jeśli nas pamięć nie myli, po raz pierwszy na wiecu katolickim w r. 1880, już wtedy mówił płynnie po polsku i przemawiał ogniście za prawami językowemi polskiego ludu. To też niebawem pod presyą srogiej jeszcze wtedy walki kulturnej centrum szląskie oddało p. majorowi mandat poselski bytomski. Pan major jest mówcą urodzonym, mówi spokojnie, a mimo to z wielką werwą i rozporządza wielką ciętością słowa; wnet też zasłynął jako najlepszy obrońca języka polskiego na arenie parlamentarnej. Mowy jego powinny być znane w całej Polsce, ponieważ po śmierci Kantaków i Niegolewskich żaden z waszych posłów polskich, z wyjątkiem chyba pana Czarlińskiego, tak ostro nie krytykuje postępowania rządu i tak dosadnio nie piętnuje krzywd nam wyrządzanych, jak to czyni p. major. Ale działalność jego nie ogranicza się wyłącznie na arenie politycznej, bierze on niemniej żywy udział w ruchu towarzystw naszych i stał się dzisiaj jedną z najpopularniejszych postaci u nas. Zdobyła mu tę popularność wielka odwaga cywilna, — gdyż bronił on ludu nietylko przeciwko rządowi, ale w łonie centrum przeciw większości germanizatorskiej, bronił nas na wiecach i w Wrocławiu. Pan Major nie jest bynajmniej zwolennikiem tak zwanej „idei wielkopolskiej", jednakże obronę praw naszych opiera nietylko na prawach przyrodzonych ale i na *historycznej odrębności i prawach historycznych* i tem się różni bardzo od drugiego, zresztą sympatycznego posła naszego pana radzcy *Letochy*, który jakkolwiek w całem tego słowa znaczeniu Polak rodowity, stoi ściśle na gruncie programu centrowego i tylko z tego punktu widzenia broni praw naszych.

Ale wróćmy do rzeczy. Powiedzieliśmy, że w miarę słabnięcia walki kulturnej centrum coraz bardziej chłodło w swych „sympatyach" do polskości i sprawę obrony języka ojczystego ludu spychało na drugi plan. Dopóki na Górnym Szląsku istniał sam tylko „Katolik", wydawany i redagowany przez kapłana, lud nie dowiadywał się o takich zamachach zakulisowych, bo „Katolik", aby nie psuć zgody między wyznawcami jednej wiary, milczeniem takie zajścia ubijał. Sytuacya zmieniła się dopiero od chwili, gdy w Raciborzu zaczęły wychodzić niezależne i ściśle polsko-narodowe, a nie centrowe „Nowiny Raciborskie", — którym w kilka lat później w sukurs przybyła dzielna „Gazeta Opolska". Gazety te uważały za swój obowiązek wyświecać należycie takie kwestye i przekonywać lud, jak bywa w swem zaufaniu zwodzonym. Śmiałe ich postępowanie skłoniło wreszcie i „Katolika" do otwartszego przemówienia i zajęcia wyraźniejszego stanowiska. Tymczasem stosunki zaostrzyły się coraz bardziej. Centrum usiłowało kilku zamachami ubić opozycyę polską, skupiającą się około „Nowin Raciborskich" i „Gazety Opolskiej", lecz zamachy te się nie powiodły. Rozpoczęła się wtedy walka cicha, podjazdowa. Przywódzcy centrowi a zwłaszcza centrowe duchowieństwo dokładało wszelkich starań, aby zachować stronnictwu swemu uświęconą z kazalnicy nietykalność. Urządzony w roku 1890 w Raciborzu wspólny większy wiec katolicki doznał atoli zupełnego fiaska, ponieważ komitet centrowy nie chciał uznać i akceptować słusznych żądań miejscowego komitetu polskiego co do równouprawnienia języka polskiego, wskutek czego za radą „Nowin Raciborskich" lud polski w wiecu tym udziału nie wziął. Wydało się także, że p. hr. *Ballestrem*, przywódzca stronnictwa Centrum na Szląsku, radził publicznie: *„die Oberschlesischen Polen aufs Maul schlagen"*, że o ks. Robocie, Polaku, wyraził się, iż *„einen solchen Polonisator muss man weit weg aus Oberschlesien jagen"*, co naturalnie wśród ludu wywołało ogromne oburzenie, — wydało się dalej, że księżę-biskup a dzisiejszy kardynał w żaden sposób zezwolić nie chciał na założenie polskiego Towarzystwa pomocy naukowej z charakterem bractwa, jakkolwiek z statutów poskreślano już wszystko, co tylko brzmiało trochę z polska.

(Dokończenie nastąpi.)

Stosunki partyjne Czech.

(Dokończenie.)

Obok tego poczęła się szybko rozwijać publicystyczna i literacka działalność postępowców. W roku 1891 studenci posiadali swój „Czasopis czeskaha studentstva", ogólnym zaś organem politycznym była „Neodvislost"; postępowa młodzież robotnicza i handlowa miała również swe organy. Oprócz tego postępowcy wydawali dwa pisma literacko-społeczno-polityczne: „Nove Prondy" i „Rozhledy" i cały szereg dziełek naukowych i literackich, tudzież broszury o najrozmaitszych kwestyach politycznych.

Ruch młodzieży zaniepokoił stronnictwo młodoczeskie. Organa młodoczeskie usiłowały początkowo zabijać milczeniem wszystko, co czynili postępowcy, ale nigdy to nie skutkowało, wówczas Młodoczesi wystąpili przeciwko postępowcom. Jeszcze bardziej niż Młodoczechów zaniepokoił ruch postępowy rząd, t. j. namiestnika Czech hr. Thuna. Rząd uznał postępowców za wrogów niebezpiecznych i tylko czekał sposobności, aby zadać cios śmiertelny całemu ruchowi. Sposobność ta niebawem nadarzyła się.

W miarę wzrostu ruchu do postępowców poczęły lgnąć najróżnorodniejsze żywioły, pomiędzy któremi łatwo mogli się znaleść ludzie, nic wspólnego nie mający ani z programem stronnictwa, ani z głównem jego jądrem, ani ze stojącą na czele ruchu utalentowaną młodzieżą. Te to żywioły, roznamiętnione skrajnie opozycyjnemi mowami pewnych posłów młodoczeskich, dopuściły się często szkolarskich wybryków o charakterze antydynastycznym jak n. p. zasmarywywanie orłów państwowych na skrzynkach pocztowych, śpiewanie po pijanemu pieśni rewolucyjnych, urządzanie bójek z policyą i t. d. Zamiast zapatrywać się na podobne rzeczy jako na zwykłe zakłócanie spokoju, władze praskie wydęły je do iście potwornych rozmiarów, zrobiwszy z piętnastoletnich chłopaków niebezpiecznych przestępców, zagrażających całości monarchi Habsburgów. Wyni-

---

— Nie jesteś chyba łotrem skończonym, nie mówiłbyś inaczej tak wiele o tem! Czy możesz zaprzeczyć?

Bergström zaśmiał się z jej zapału.

— Ale, jaka z ciebie mądra dzieweczka, Engelko! — rzekł — chodź do mnie, droga moja, dla czegoś tak daleko odemnie uciekła?

Wstała i ku niemu podeszła.

— Siadaj obok mnie, najdroższa; tak, teraz znowu nam dobrze. Masz słuszność, mówiąc, że jestem dobrym: jestem w gruncie „un bon garçon", jak mówią Francuzi. To moja cała „raison d'être". Najlepszym tego dowodem jest to, że się na tobie poznałem... Wiesz, Engelko, gdy tak siedzisz cicha, z twarzyczką twą pełną zadumy, nie mogę oprzeć się chęci odgadnięcia tego, nad czem też myśl twoja pracuje w tej chwili. Może nad tem, może nad owem: gubię się w domysłach, nie mogąc dać sobie rady. Ot, lepiej sama powiedz, o czem myślisz, powiedz mi na przykład, jak zapatrujesz się na przedstawiony ci przed chwilą dowód mej dobroci?

Podniosła ku niemu głowę.

— Chodź, powiem ci do ucha: Jest znakomity! — szepnęła.

Uścisnął ją i nagle począł śmiać się serdecznie na cały głos.

— Engelko, co to za woń szczególna rozchodzi się dokoła? nie czujesz? Bóg wie, co to być może, bo chyba nie samochwała, w każdym razie ty jej nie czujesz, nieświadoma grzeszniczko! Droga Engelko, czy wiesz, jak ja cię kocham? jak bardzo cię kocham!...

Ręce ich splotły się w uścisku wzajemnym.

Po chwili Bergström poruszył fotel, który zlekka się zakołysał.

— Chciałem ci jeszcze powiedzieć, Engelko, że to, co przed chwilą mówiłem o literaturze, nie jest tylko kaprysem przelotnym — tak myślę w istocie — to nie były tylko paradoksy, zaprawdę. Sądzę, że taka poezya zła, takie namiętne zgłębianie jego istoty oddałoby niezmierzone usługi, działając jako nowa na świecie potęga; służyłaby nietylko do wywoływania nastrojów estetycznych, — rzecz zbytku bądź co bądź, którą można odrzucić z łatwością, jeśli się chce. Poezya ta byłaby promieniem palącym, żar którego nie dałoby się zgasić!... W serce każdego człowieka skierowałaby poezya ta promień swój jasny, a tam, nawet w popiołach, znalazłby on pokrewną mu iskierkę.. Dalibóg, jak wspaniały pożar wzniecono by wówczas w starej naszej Danii! widzielibyśmy wówczas stare teorye profesorskie w przedśmiertnych podrygach się wijące... No tak, bo przecież to wszystko są profesorskie teorye, któremi teraz żyć musimy, — a właściwie od których umieramy, my wszyscy, którzy w tym kraju w ogóle myśleć umiemy. Rozumie się, że nie mam tu na myśli owych „zasad kierujących" z czasów ojców naszych, to nie są nawet teorye profesorów, lecz idyotyzmy wprost. Ale weźmy nawet te dobre zasady, na których wychowaliśmy się, które stały się krwią krwi naszej, kością naszej kości — gdzież te się podziały? Nie możemy się niczem przejąć do głębi, nie potrafimy szczerze oburzać! jesteśmy wypaleni, znużeni, zupełnie do niczego jednem słowem! Nazwij mi choć jednę ideę, któraby nas jeszcze zagrzać mogła. Wolność może? Można do niej zastosować słowa, które Beyle o Bogu był powiedział: „jedno, co go usprawiedliwia, to to, że nie istnieje". A czy może wzbudzić w nas uczucia jakieś, to co nie istnieje? Inni porzucają wszelkie idee i uprawiają „l'art pour l'art", sądząc, że zdołają nas tem zająć, rozgrzać do czegoś. Miły Boże! co to wszystko warte?

Stanowczo nie będzie lepiej, dopóki ten zły człowiek się nie zjawi, tylko jego nam trzeba! Lecz nie przyjdzie on tak prędko: płomienna jego dusza nie może powstać wśród takich, jak lud nasz, zjadaczy chleba! Engelko, jakie to wszystko smutne! jak strasznie smutne!...

— Dla czego jednak teraz tak się na to zapatrujesz? Dawniej nie widziałeś rzeczy tak czarno, byłeś weselszy? — spytała nieśmiało.

— Tak, ale pojmujesz chyba, że to jest właśnie najlepszym mego rozwoju dowodem

kiem tego był słynny proces t. zw. „Omladiny“, który się skończył tragicznie. Kilkudziesięciu młodzieńców zasądzono na karę więzienia, a w liczbie skazanych znaleźli się i główni kierownicy ruchu postępowego: H a j n, R a s z y n, S o k o l i S z k a b a. Oskarżano ich o zawiązanie tajnego antydynastycznego stowarzyszenia „Omladina“.

Cała sprawa z t. zw. „Omladiną“ przedstawia się dość niejasno; rzecz jednak niewątpliwa, iż agent-prowokator Mrva odgrywał w całej tej smutnej historyi rolę bardzo czynną. Pomimo całego szeregu sztuczek sofistycznych, użytych w tym procesie przez prokuratoryę, nie udało się jej nawet tego dowieść, że „Omladina“ istniała rzeczywiście.

Proces t. zw. „Omladiny“ zadał silny cios młodemu ruchowi, pozbawiwszy go głównych kierowników, ale zabić go już nie mógł. Postępowcy zyskali sympatyę we wszystkich warstwach narodu czeskiego i działalność ich rozwija się z wielkiem powodzeniem. Najlepiej widać to na ich działalności literackiej. Liczba ich organów doszła do piętnastu. (Główne z nich — „Radikalni Listy“ i „Roztledy“.) Od pół roku wydają postępowcy dwa krajcarowe pisemka: „Ruch“ i „Lid“, które mają przeszło 20,000 prenumeratorów., pomimo, że w Pradze są zabronione wskutek stanu wyjątkowego.

Stan wyjątkowy, na zasadzie którego zawieszono trzy pisma postępowe i zawiązano główne ognisko życia umysłowego młodzieży czeskiej — stowarzyszenie „Slavia“ (które posiadało ogromną bibliotekę i mnóstwo pism we wszystkich językach) zmusił postępowców do przeniesienia działalności głównie na prowincyę.

Postępowcy posiadają całkiem określony szeroki i jasny program. Jednakże różne punkty programu tego nie przedstawiają pewnej całości organicznej, tak, że rozpatrując ten program, od razu widzimy, jakie i jak różnorodne czynniki wpłynęły na jego ostateczne sformułowanie.

Za postępowca uważają każdego, kto jest przeciwnikiem gnębienia narodu przez naród, płci przez płeć, klasy przez klasę. Wychodząc z tej zasady, żądają postępowcy reorganizacyi Austryi na podstawie 1) zupełnego równouprawnienia wszystkich narodowości, 2) federalistycznego połączenia wszystkich prowincyi zagranicznych na zasadzie warunków naturalnych (historycznych albo etnograficznych), przyczem prawa każdej mniejszości narodowej powinny być ściśle zagwarantowane. Postępowcy żądają zupełnej wolności sumienia, słowa, druku i t. p. powszechnego, bezpośredniego, równego i tajnego głosowania bez różnicy płci, zastąpienia wojsk przez milicyę, bezpłatnego sądownictwa z odpowiedzialnością prawną urzędników za wszelkie przekroczenie ustaw podczas pełnienia obowiązków służbowych. Następnie postępowcy dążą do zaprowadzenia nauki bezpłatnej, reformy nauczania w duchu wymagań współczesnych, oddzielenia Kościoła od państwa i t. d.

Dotąd postępowcy nie zorganizowali się w całkiem samodzielne stronnictwo polityczne. Przedstawiają oni coś w rodzaju lewego skrzydła stronnictwa młodoczeskiego, przyczem stosunek ich do przywódców obozu młodoczeskiego jest dość dziwny. Program postępowców wielce się różni od programu młodoczeskiego, a ich działalność praktyczna bardzo mało ma wspólnego z działalnością p. p. Greprów, Heroldów i Vaszatych. I w kwestyach polityki zewnętrznej, zwłaszcza względem Rosyi, postępowcy stoją na całkiem innem stanowisku, aniżeli krzykacze młodoczescy. Mimo to nie zrywają oni związku z Młodoczechami. Taki oportunizm dowodzi albo tego, że postępowcy nie przyjmują swego programu na seryo, albo tego, że chcą, aby Młodoczesi wyciągali dla nich kasztany z ognia. W ostatnim wypadku musielibyśmy przyznać. że młode stronnictwo postępowe wkracza na śliską drogę politykowania, które może je zdemoralizować, ale korzyści rzetelnej nie przyniesie.

Jeśli postępowcy zdołają otrząsnąć się z tego oportunizmu, wówczas mogą liczyć na wielkie powodzenie, zwłaszcza obecnie, kiedy stronnictwo staroczeskie zeszło ze sceny, młodoczeskie zaś, nie spełniwszy swych obietnic, poczyna tracić zaufanie społeczeństwa. Jedynym poważnym przeciwnikiem postępowców stanie się w przyszłości stronnictwo socyalno-demokratyczne, które właśnie w Czechach będzie święciło pierwsze tryumfy po wprowadzeniu powszechnego głosowania.

Czechy rozpadają się na dwie części: południową — rolniczą i północną — przemysłową. W części południowej znajduje się dość dużo cukrowni, browarów i gorzelni, te jednak nie są w stanie zapewnić pracy dla wciąż wzrastającego liczebnie proletaryatu, pozbawionego ziemi. Wskutek tego masy ludności roboczej dążą do północnej części Czech, gdzie znajdują zarobek w licznych fabrykach i kopalniach. Oprócz tego znaczna część proletaryatu zdobywa kęs chleba w południowo-zachodnich Czechach, gdzie jest bardzo rozwinięty przemysł rękodzielniczy, tudzież w Pradze, stanowiącej bogate ognisko przemysłowe. W północnej i wschodniej Morawii, jako też i na Szląsku, znajduje się obszerne pokłady węgla kamiennego, umożliwiające rozwój górnictwa i hutnictwa w najszerszych rozmiarach.

Robotnicy czescy posiadają przeszło 20 organów i całą sieć różnych stowarzyszeń, które ułatwią im zwycięstwo we wszystkich okręgach wyborczych, gdzie większość stanowi ludność robotnicza, wówczas, kiedy nastąpi załatwienie reformy wyborczej w Austryi. Obecnie socyalni demokraci odnoszą zwycięstwa przy wyborach do reprezentacyi miejskich miast fabrycznych.

Na robotników zwrócili uwagę i klerykalni, którzy założyli stronnictwo „chrześciańsko robotnicze“ i wydają parę organów dla klasy roboczej. Wogóle duchowieństwo bierze nader czynny udział w życiu politycznem narodu czeskiego, głównie starając się oddziaływać na masy za pomocą taniej prasy popularnej. Pisemka klerykalne „Kršiž“ i „Marie“ rozpowszechniają się w olbrzymiej ilości egzemplarzy. Były próby założenia samodzielnej partyi klerykalnej, ale te dotąd się nie powiodły i obecnie klerykali działają w sojuszu ze Staroczechami i szlachtą, która stanowi w Czechach stronnictwo samodzielne, dość nieokreślone pod względem narodowym.

Tak przedstawia się położenie Czech przy obecnym systemie w Austryi, jednakże reforma wyborcza może przekształcić ugrupowanie stronnictw czeskich dość znacznie.

Leon Wasilewski.

Praga w maju.

Przegląd prasy polskiej

zaboru pruskiego.

„G a z e t a T o r u ń s k a“ poświęca w nr. 139 wstępny artykuł stosunkom prasowym w Prusiech. Z artykułu tego cytujemy ustęp następujący:

„Stosunki prasowe układają się w Prusiech Zach. bardzo pomyślnie, albowiem mamy redakcye aż w czterech punktach t. j. w Toruniu (2), Grudziądzu, Pelplinie i Gdańsku (2), kiedy pisma wielkopolskie wszystkie, z wyjątkiem „Dziennika Kuj.“ (w Inowrocławiu) wychodzą w jednem miejscu t. j. w Poznaniu. Skoro jeszcze Chojnice zdobędą się choćby na pisemko dwa razy tygodniowo wychodzące, to wtenczas wszystkie ważniejsze w naszej dzielnicy punkta będą miały tak ważne posterunki, jakiemi są redakcye pism polskich.

Co do objętości pism naszych również zachodzi rozmaitość odpowiadająca w zupełności naszym potrzebom, albowiem na sześć pism, jakie będziemy mieli w przyszłym kwartale, 1 wychodzi raz w tydzień („Tyg. Gd.“), 1 dwa razy („Przyjaciel“), 3 po trzy razy („Pielgrzym“, „Gaz. Gd.“ i „Gaz. Gr.“), a 1 (nasza gazeta) sześć razy. Prenumeraty bierze 1 pismo fenygów 45, 1 fenygów 75, 1 fenygów 100, 1 fenygów 125 i 2 po 150 fenygów. Wielkie, kilkomarkowe dzienniki dochodzą do nas z Poznania, a wydawanie takiego pisma u nas nie miałoby racyi bytu, ponieważ ludzi, którym

---

że lepiej mi teraz. Nie możesz tego zrozumieć?

Engelke zaprzeczyła głową.

— Ależ bądź trochę moją kochaną, roztropną dzieweczką. Pomyśl, dla czego to ze mną lepiej się dzieje obecnie niż przedtem?

Engelke myślała przez chwilę.

— Przedtem byłeś obojętny — rzekła cicho, w obawie, że może nie odgadła.

— Otóż to właśnie! Czy nie tak? Pewien Francuz, jeśli się nie mylę, Toquerille, powiada, że państwa rewolucyonizują się, gdy tylko polepszają się ich stosunki. Tak samo rzecz się ma ze mną: teraz widzę dopiero nędzę mą poprzednią, teraz kiedy mi dobrze. A wiesz kto najwięcej dopomógł mi wydostać się z tego stanu zobojętnienia i apatyi? Oto moja mała, słodka, fanatyczna narzeczona.

Engelke spojrzała na niego zdziwionemi oczyma.

— Ja jestem fanatyczką? — spytała.

— O i jak jeszcze, Engelko, a to tem więcej, że nawet o tem nie wiesz.

Na twarzy jej widać było zadumę.

— Dla czego? — spytała.

— Posłuchaj, droga Engelko: zdaniem mojem istnieje wiele rodzajów fanatyzmu. Są prawdziwi monomani — z tych rekrutują się religijni i antireligijni fanatycy, i ci są najniebezpieczniejsi. — Są bowiem ludzie, którzy fanatycznie wierzą np. w to, że każdy dzwon kościelny jest dzwonkiem błazeńskim — inni znowu wierzą święcie, że każda iskra śmielszych poglądów i zapałów z piekielnego ognia pochodzić musi. Do tych ostatnich należy i wspólny nasz przyjaciel, Nörgaard. Dla ludzi tych biednych nic nie znaczą wszelkie wyjaśnienia; — ich natura cała, temperament cały już ich w tym popchnęły kierunku; byli oni przeznaczeni, że tak powiem, na ofiary fanatyzmu. Inaczej rzecz się ma z duszami takiemi, jak twoja: jest ona niezmiernie wrażliwą i silnie odczuwającą, w tem twoje pokrewieństwo z monomanami, ale jest ona zarazem tak delikatną, tak czułą, że instynktownie cofa się przed wszystkiem, czemu całkowicie oddać się nie może, że drży i niepokoi się na widok czegoś niemiłego. Istotę jej stanowią tęskne marzenia, pełne nieokreślonych obaw i nadziei. Nieprawdaż Engelko? Zauważyłaś sama zapewnie jak niepewne, chwiejne są wogóle sympatye twoje; masz pewne pragnienia i dążenia w życiu twojem, lecz one nigdy nie przybierają form ustalonych.... Ale dla tego właśnie nabierają myśli twoje i uczucia owego nieokreślonego wdzięku, owej ukrytej, tajemniczej poezyi obietnic, właściwej wczesnej, bladej wiośnie.... A twoje nienawiści, te może są więcej określone niż sympatye — one to są ważnym bardzo czynnikiem w fanatyzmie — są dłań tem, czem ogień dla stali: rozpalając — hartuję. O, znam je dobrze: wiem, że jesteś nieprzyjaciółką srogą kłamstwa — tego przedewszystkiem, — głupoty, proroctwa, które coraz więcej wszędzie dostrzegać się daje; wiem, że cię to wszystko razi, bo słuch twój czuły, a niewinne są uczucia twoje, Engelko.... Lecz cóż ty na to? Zgadzasz się w milczeniu? a może śmiejesz się w duchu ze mnie? O wiele byłoby też lepiej i rozsądniej, gdybyś mi sama coś o sobie powiedziała.

Engelke spojrzała na niego z uśmiechem.

— Ależ ty o wiele lepiej wszystko mówisz, niż ja uczyniłbym to mogła! a to dla tego zapewnie, że ty przecie nauczyłeś mnie być taką....

Schyliła głowę, a po chwili, jakby do siebie, rzekła;

— Wyidealizowałeś mnie, to pewna; lecz nie widzę nic nadzwyczajnego w tem, co powiedziałeś, — nie trudno być taką!... wiem, że nie jestem zbyt zajmującą, a dla tego całkiem to naturalne, że chciałbyś uczynić mnie taką niezwykłą, wyróżniającą się z pośród innych... masz tak bogatą fantazyą....

— Ale mniejsza o to! — rzekła tuląc się do niego, — jeśli mnie tylko kochasz, Jerzy, — bo ja tak z ciebie jestem dumną....

Bergström pogłaskał jasne jej włosy i pocałował.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

takie pismo potrzebne, niestety w Prusiech Zach. jeszcze za mało".

—

Z Prus Zachodnich donoszą do „Dziennika Kujawskiego" (nr. 138):

„Garstka już tylko istnieje u nas większych posiedzicieli ziemskich. a i ci przerzedzają się coraz więcej. W ostatnich latach przeszły w obce ręce piękne majątki Jackowskich, Kobylińskich, Kalksteinów, hr. Czapskich, hr. Mielżyńskich (Ryńsk), Sułczyńskich, Czarlińskich (Chwarzno) i t. d. Obecnie znowu wkrótce prawdobodobnie innoplemieniec kupi prześliczną włość Topolno nad Wisłą. Znajduje się tu piękny kościół z cudownym obrazem Matki Boskiej. Co miesiąc odcywa się w Topolnie jarmark. Właścicielem jest pan Kublicki-Piottuch. Termin sprzedaży naznaczony na dzień 12 lipca. Będzie to wielki cios dla narodowej sprawy, jeżeli ów majątek zakupi komisya osadnicza, a zanosi się na to, gdyż doświadczenie uczy, że chętnie kupuje ta instytucya rządowa wsie kościelne i płaci za nie nawet w danym razie wyższe ceny ponad rzeczywistą wartość. Mimowoli przypominają się się słowa cara Mikołaja: „Będziecie mieli Polskę, ale bez Polaków"".

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że subhasta Topolna została cofniętą. (Przypisek Redakcyi).

—

Wiadomo czytelnikom naszym z przeszłego numeru, że maleńkie pisemko „Warmiak" reklamuje się publicznie jako „jedyna gazeta polsko-katolicka zwalczająca humbug narodowościowy", mianując się nadto „pismem dla duchowieństw i ludu katolickiego". Sprawie tej poświęca „Goniec Wielkopolski" następujące uwagi w nr. 143:

„Przestrzegaliśmy już nieraz Czytelników naszych przed owymi germanizatorami, którzy to pod płaszczykiem bronienia wiary św. katolickiej starają się wynarodowić lud nasz polski w pruskim zaborze.

Jeżeli dawniej na Górnym Szlązku tylko i jedynie przez jednostki system ten germanizowania był praktykowany, to w ostatnich czasach mieliśmy przykłady tego, że niemieckie duchowieństwo i w innych prowincyach polskich zbiorowo występowało przeciwko polskości i tam przykładało ręki do wydzierania nam tego, co Pan Bóg dał każdemu człowiekowi najświętszego na tej ziemi, t. j. języka ojczystego.

Pamiętamy te zapasy namiętne, jakie n. p. duchowieństwo katolickie niemieckie staczało podczas ostatnich wyborów parlamentarno-sejmowych w Raciborzu, gdzie nawet wydawało po polsku osobną gazetę duchowną, wymierzoną przeciwko i na zabicie „Nowin Raciborskich".

Nie inny też cel ma tygodnik drukowany w Olsztynie p. t. „Warmiak", wymierzony w pierwszej linii przeciwko „Gazecie Olsztyńskiej", a pośrednio i przeciwko innym pismom polskim, wychodzącym w Prusach Zachodnich.

W oczach tego pisma „dla duchowieństwa katolickiego", przyznającego się do „zasad politycznych Centrum", owego Centrum, którego luminarze tacy, jak nieboszczycy Gerlach, Malingrodt, Windhorst, a w ostatniej kadencyi sejmowej Porsch, Conrad, Dasbach, Heeremann i inni występowali śmiało w obronie praw należących się Polakom, — narodowość polska to humbug, który ci krzyżaccy rycerze śmiało zwalczać pestanowili!

Wilcze pazury wychodzą z pod tego duchownego płaszczyka, będziemy też wiedzieli, z kim mamy do walczenia i ta „jedyna gazeta polsko-katolicka" polskiej publiczności czytającej chyba nie zdurzy i nie skusi".

—

Korespondent berliński „Gazety Toruńskiej" pisze w nr. 142:

„Berlińscy akademicy nie pozostali w tyle poza lipskimi i założyli dziś akademicką grupę spółki HKT. Zebranie w tym celu zwołał Związek niem. studentów. Pierwszym mówcą był jakiś „oberstleutnant" Jahns. Treść jego mowy, opartej niby na faktach historycznych, nie różniła się od treści innych tego rodzaju wynurzeń. Następnie przemawiał za utworzeniem grupy akademickiej „generalleutnant" Teischmann, naczelnik berlińskich HKTystów. W końcu oznajmił p. Tiedemann, że nowozałożony „Bank" w Poznaniu tylko na pozór, aby Polaków zbyt nie drażnić, przeznaczony dla całego państwa pruskiego. W rzeczywistości będzie on tylko w polskich działał okolicach. Dalej prawił pan Tiedemann, że należy zawsze naprzód iść, nowe okolice zdobywać, bo kto cicho stoi, cofa się. Zwyczajny profesor prawa na uniwersytecie berlińskim, tajny radzca sprawiedliwości dr. H. Brunner, który w kwietniu przemawiał przy zakładaniu grup męskiej i żeńskiej, był na zebraniu dzisiejszem również obecny, ale głosu nie zabierał. Studentów zebrało się około stu, a wśród tych wielu „ciekawych". Na kilka tysięcy studentów to bardzo niewiele. Dowodzi to, że młodzież niemiecka, o ile nie stoi na żołdzie funduszu antipolskiego i t. p., nie bardzo sprzyja hecy antipolskiej sławetnej spółki HKT.

Dziwi nas, że p. minister oświaty i p. rektor, którym zawadzało niewinne towarzystwo naukowe polskie, spokojnie patrzą, jak wysłużeni rębacze wciągają młodzież uniwersytecką do agitacyi, która zakłócić musi stosunki koleżeńskie wśród akademików, a udział profesorów w tej robocie nie może im wśród akademików Polaków dodać sympatyi. Takie postępowanie może tylko mniej wyrobioną młodzież polską pędzić w sieci radykałów, którzy, nawiasem mówiąc, zdołali w spółce z żydami opanować berlińską Czytelnię akademicką".

—

„Orędownik" zamieszcza w nr. 143 artykuł p. t. „Nasi goście z Galicyi na wystawie", wykazując różnicę między stosunkami Galicyi a Księstwa i wynikającą z nich konieczność pewnego ograniczenia przyszłych owacyi poznańskich. Końcowy ustęp artykułu brzmi:

„Tu w Poznaniu i w zaborze pruskim, na tej historycznej ziemi, na której stała kolebka przez tysiąc lat sławnego a dziś już nie istniejącego państwa polskiego, stoimy i żyjemy i ratujemy wśród wytężonych zapasów z siłami przeciwnemi to, co narodowi polskiemu z sławnej ongi Polski pozostało. Nie stać nas ani na książąt Sapiehów, ani na Mochnackich, ani Marchwickich, ani na Badenich. Nasze stanowisko jest inne od stanowiska braci naszych w Galicyi. Stoimy na kresach narodu polskiego frontem zwróceni nie naprzeciw Czechom, Węgrom lub Rosyanom, ale naprzeciw żywiołowi niemieckiemu. Stoimy tu — obozem narodowym i wszystkie siły wytężać musimy ku obronie tego obozu.

Przyjmiemy więc całem sercem braci Galicyan — ale po obozowemu: szczerze, serdecznie, ale i z zachowaniem tej ostrożności, jaka w każdym obozie jest potrzebna, żeby przeciwnych sił nie wywołać z lasu".

—

Przesada. „Dziennik Poznański" poświęca w nr. 142 oddziałowi robót kobiecych na wystawie poznańskiej bombastyczny artykuł, z którego cytujemy ustęp następujący:

„Nie wątpimy, że ks. Bismarck, gdyby na wystawie naszej zwiedził dział pań polskich, nie omieszkałby znów wygłosić ognistej mowy na znany temat. To jego uznanie dla kobiet naszych jest chyba najlepszym dowodem, jak idealnie spełniają swe obowiązki w rodzinie i w narodzie.

Jak niegdyś Chrzanowska ocaliła Trembowlę, tak dziś pracowite dłonie pań naszych przyczyniły się niemało do podniesienia znaczenia naszego na wystawie prowincyonalnej".

Taka napuszona przesada wyrządza kobietom naszym wątpliwą przysługę. Okazy ich pracy zasługują bez wątpienia na szczere uznanie i społeczeństwo nasze jednomyślnie oddaje im hołd należyty. Ale właśnie dla tego nie wolno niezręcznym panegiryzmem psuć korzystnego wrażenia, nie wolno łączyć znakiem równania bohaterstwa Chrzanowskiej z mistrzostwem w haftach, robotach koronkowych i t. d. Jest to niesmaczne i śmieszne, a nasze panie nie zasłużyły sobie na to, aby im taką niedźwiedzią wyrządzać przysługę.

—

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Il Pensiero Slavo" rozpisuje się o rozwoju szkół ludowych w Dalmacyi.

„W roku 1880 liczył kraj nasz 1.89 proc analfabetów; w roku 1890 tylko 1.85 proc. W roku 1869 istniało 218 szkół ludowych, do których uczęszczało 19.465 chłopców, do nauki zobowiązanych; w roku zeszłym było szkół 351, a uczęszczających 36.000 dzieci, pomiędzy niemi 22.500 chłopców, 13.000 dziewcząt.

„W ostatnim czasie wzrosła znacznie liczba szkół w okolicach górzystych Dalmacyi: szkołę zakładano wówczas tylko, gdy można było liczyć z całą pewnością, iż nie pozostanie bezczynną z braku siły nauczycielskiej.

„Szkoły ludowe spotykał z wielu stron zarzut, iż są mięszane co do płci. Zarzut ten wykazał się w praktyce niesłuszny i nie wywołał ujemnych skutków co do moralności. Dzieci chorwackie płci obojga przyzwyczajone są do wspólnego pożycia, bo je pozostawiają bez dozoru podczas paszenia bydła w odludnych miejscowościach, a przecież nic złego się nie dzieje.

„Dobry rezultat wydają również takie szkoły w Bośni i Hercogowinie, gdzie szkół oddzielnych dla każdej płci nie ma.

„W roku bieżącym istnieje w Dalmacyi szkół ludowych 438. Również zmieniono plan

---

ANTONI ZŁOTNICKI.

BOSFOR.

(Nokturn.)

Mojej Narzeczonej.

W przezroczym stroju nocy letniej, ujęty w brzegi róż i cyprysów, Bosfor płynie bez szmeru.

Życie zasnęło, ziemskie światła zagasły, blade światło księżyca kąpie się jedynie w wód zwierciadle.

Urocza cisza nocy letniej!

Troski ludzkie ulatują gdzieś w dal pod snu tchnieniem i tchnieniem tej ciszy...

Niebo, to niebo niedościgłe, nieuchwytne, krwawiące się niedawno na widok skonu słońca, zanurza się w wodną tę płaszczyznę ze swemi gwiazdami i blaskiem księżyca i zdaje się być tak blizkiem, tak dostępnem dla wszystkich....

Chwilami zda się, że dźwięk skargi ludzkiej przewija się w powietrzu, że hymn żałoby rozbrzmiewa gdzieś w duszach ludzkich.

Błędne dumania i trwogi nocne i głuche jęki i rojenia miłosne i westchnienia tęsknoty i szepty tajemnicze zlewają się w melodyę jakąś smutną, nieuchwytną, ulatającą gdzieś w obszary nieskończoności.

Echa niewyraźne, pokaleczone błąkają się w powietrzu i dźwięczą jak serca kobiece, które odpowiadały już na nawoływania miłości. Niektóre wyrazy zamierają w nich, jak gdyby potykały się o groby głuche, o mogiły cmentarne, inne znowu przeobrażają się w wybuchy ironii lub łkania.

Mam w pamięci noc bolesną, noc burzliwą, spędzoną w objęciach jednej z tych kochanek nieszczęśliwych. Pragnienie rozkoszy jedynie pchnęło nas ku sobie, miłość jak gość nieoczekiwany zjawiła się na uczcie naszych pocałunków. Była to miłość ze całym swym orszakiem nadziei bezgranicznych, z wylewem słów z głębi duszy: „Do Ciebie należeć będę zawsze, na zawsze!"

Błagała mnie, bym powtarzał jej te słowa; lecz gdym je wymawiał, gdy z warg mych przenosiły się do jej uszu, zamykała mi usta swą ręką i rzucała się we łzach, wołając: „Kłamiesz, ty mnie porzucisz, ty mnie nie długo kochać będziesz!"

Płakała nademną i nad sobą, nad zwodniczą nadzieją, której czczość znaną jej była zbyt dobrze. Przypominała sobie, że te same słowa słyszała już dawniej od innych. Lecz gdzież są serca świeże, bez pamięci, niewiedzące, że się kłamie, gdy się mówi: „Na zawsze!"

Śpij spokojnie niewiasto kochająca! kochanek twój, marząc o tobie, uzupełnia cię, obdarza cię tem, czego ci brak, abyś była podobną do tej, której jesteś odbiciem, echem, do Ideału, a której nie wyróżnia jeszcze od ciebie, bo mu miłość ślepotą wzrok jego osłoniła!...

Lecz, cóż to za głosy ośmielają się przerywać pieśń błędnych dumań z falowań ech tajemniczych płynącą?

Co za rozpaczliwy krzyk prześliznął się w powietrzu!

Po Bosforze przebiegła fala, marszcząca lekko gładką jego powierzchnię. To Newa, ofiara iluzyi zniknęła w jego głębi.

Na ołtarzu miłości nic się nie zmieniło: przybyło mu tylko o jedną plamę krwistą więcej....

I znowu muzyka nadziei, zapowiedź lepszego jutra przenika powietrze nocy letniej.

Jutro pełne nadziei, jutro — dzień święta po dzisiejszym smutku, dzień nowych złudzeń, dzień radości, dzień szczęścia....

Niebo, to niebo upragnione przez wszystkich, unoszące się na wód powierzchni i uśmiechem swym ponętnym wabiące nas ku sobie, nad całym światem jutro zabłyśnie, wszystkich promieniami wesela uszczęśliwi i rosę łez ich wysuszy.

nauki w seminaryach nauczycielskich, zaprowadzając naukę ekonomii. W Dubrowniku istnieje jedna tylko na całą Dalmacyą wyższa szkoła dla dziewcząt, do której posyłają swe córki także zamożniejsi Czarnogórzy.

„Poczyniono też kroki odpowiednie, ażeby wychowańców seminaryów zapoznać szczegółowo ze służbą okrętową i żeglarską oraz i rybołóstwem, jak to się dzieje w seminaryach nauczycielskich w Danii i Szwecyi, gdzie nowość ta wydała skutki nader pożądane.

„W szkołach powinna być dziatwa przygotowywana do życia praktycznego, powinno budzić się w niej systematycznie zamiłowanie do stanu, do którego należy. Tym sposobem zwiąże się instytucya szkół z narodem, co powinno być głównym celem działalności naszych władz pedagogicznych. Dziś lud chorwacki przychodzi do przekonania, że w krótkim czasie wszystkie kwestye polityczne zejdą na plan drugi wobec kwestyi socyalnej, ztąd społeczeństwo należy zwolna przygotowywać do reform racyonalnych, mających byt jego ekonomiczny polepszyć.

* *
*

„Slovenski Svet“ tak charakteryzuje studentów czeskich:

„Pierwszą cechą charakterystyczną jest u studenta czeskiego jego poczucie narodowe, posunięte aż do fanatyzmu. Studenci czescy tem się różnią od studentów niemieckich, że niema w nich rozwiniętej dumy chorobliwej i wyłączności takowej. Student czeski obcuje z pomocnikami handlowymi, robotnikami, czeladnikami, a podczas agitacyi wyborczej stanowi on najgłówniejszy zastęp agitatorów. W ostatnich latach poczęła się wśród studentów szerzyć idea socyalno-demokratyczna. Dla swych przekonań narodowych jako zwolennicy prawa państwowego czeskiego, cieszą się studenci wielką popularnością wśród najszerszych warstw społeczeństwa czeskiego.

Związki studenckie upatrują swój cel główny w agitacyi narodowej. Urządzają na prowincyi zabawy, organizują wycieczki do okolic w połowie zniemczonych, aby tam obudzić ducha narodowego.

Jak naród tak i studenci czescy dzielą się na dwa obozy: Staro- i Młodoczechów. Centrum Młodoczechów było zawsze „Slavia“, do której należała poważna część studentów. Punktem zbornym młodzieży staroczeskiej jest: „Akad. Cztenarski Spolek“, który się cieszy sympatyami t. zw. szlachty. Mimo to, iż rozdział istnieje, studenci czescy łączą się zgodnie gdy idzie o walkę z Niemcami.

„Pomiędzy studentami czeskimi a niemieckimi nie ma żadnej styczności.“

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

NA ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornem mroczu, we mgle szarej,
Idzie przez łąki, przez moczary
Zaduma polna, posmętnica,
Idzie przez miedze i przez pole,
Pomiędzy wierzby i topole,
Kędy się włóczy żal, tęsknica...
Po pustkach, ścierniach i rozłogach,
Po zapomnianych dawno drogach,
Przez wiklinowe idzie gaje
I na cmentarzu ciemnym staje,
Gdzie grób dziewczyny młodej, siada,
W świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony..
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona.

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą,
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej płacze, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się w górach, czy obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna ztąd odchodzi..
Przepada kędyś w mórz głębinie
I już nie wróci nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wloką
Nad zamroczone, ciemne domy:
Wloką się, snują gdzieś daleko,
Nikną gdzieś w pustce i przestworzu,
W zmroczy ogromnej, nieruchomej...
Może za rzeczną płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dalą,
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz grubszy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonął ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
Idzie ze swojem złem i bolem
Po zbożnym łanie i po lesie,
Wszędy zło swoje, swój ból niesie,
I swoją dolę klnie tułaczą,
I swoje losy klnie straszliwe,
Z jękiem, przekleństwem i rozpaczą
Przez zasępioną idzie niwę.
Idzie, jak widmo potępione,
Wicher koło niej tylko tańczy;
W którą się kolwiek zwróci stronę,
Wszędy gościniec jej wygnańczy.
Nigdzie tu miejsca nie ma dla niej,
Nie ma spoczynku, ni przystani...
Niedolą palcem naznaczona,
Napiętnowana klęsk stygmatem,
Idzie szerokim, mrocznym światem,
Z bólu bezsilne gnąc ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony.

Kazimierz Tetmajer.

OLLA HANSSON.

BÖCKLIN.*)

I.

Przez las sosnowy, na jednorożcu, na dziwnym tym zwierzu baśni, jedzie młoda kobieta. Jest to — w połowie lata, w południe; w gęstwinie panuje wprawdzie chłód i zmrok zielonawy, po przez pnie jednak prześwieca białawy niemal błękit dnia. Zwierzę posuwa się zwolna, po równej, cienistej ścieżce, brzegiem lasu; podniosło głowę, a wielkie błyszczące oczy patrzą prosto przed siebie, natężone, osłupiałe prawie; zdawaćby się mogło, że dziwne to stworzenie postępuje na wpół we śnie, że słucha czegoś, czego my nie słyszymy. Podobnie i młoda kobieta. Zbudowana jest silnie, uderzająco silnie: twarz ma szeroką, surową; lecz oczy patrzą się — zupełnie jak oczy zwierzęcia — wprost przed siebie, z lękliwem jakoby wyczekiwaniem i z pytającem rozmarzeniem. Krzepkie, masywne prawie ciało okryte jest obcisłą suknią z gazy, suknią tak lekką, przejrzystą, że wziąćby ją można za cień zielonego światła. Jest to dziewica dwudziestoletnia, w której lada chwila zbudzi się kobieta i która w dzień letni, w samo południe, sny swoje dziewicze snuje. Naokół — cisza, cisza, przedziwna cisza; słychać tylko lekkie stąpanie cudownego zwierzęcia, które, w lunatycznem jakoby uśpieniu, prowadzi młodą panią swoją przez chłodną, ciemną, zaczarowaną krainę marzeń, podczas gdy po za światem tym stoi i czeka na nią jasne, upalne, południe życia. I we wszystkiem tem jest spokój: w chodzie zwierzęcia i w postawie marzącej dziewczyny — jest spokój w snach i spokój w dniu — najwięcej zaś jest go może w tem olśniewającem, jasnem niebie życia codziennego, które otacza grę zielonych cieni sennego tego marzenia.

Minęło wiele lat i późnym wieczorem, nieopodal willi, położonej nad morzem, stoi nad wybrzeżem kobieta. Była burza — teraz jest cisza. Na niebie kłębią się jeszcze gromady chmur, morze jednak ułożyło sie już do snu. Ściemnia się; stopnie willi i marmurowe filary wydają się jeszcze bielsze. Kobieta — mała, samotna — ginie prawie w tym krajobrazie; lecz jednocześnie krajobraz zdaje się być kobiety tej uosobieniem. I ona złożona jest z dwóch tylko barw: z czarnej i białej; czarna suknia spowija smukłą jej postać i w fałdach opada na ziemię, białe oblicze z pod okrycia czarnej koronki, wydaje się jeszcze bielszem. Stoi sama, oparta o skalistą ścianę a wokoło niej zapada zmrok i nastaje cisza i w niej zmrok zapada i cisza nastaje; cisza nocy i spokój po burzach, które równie długo z hukiem przelatywały nad nią, jak przelatują nad cyprysami, osłaniającemi willę. Równie długo?... Tak: bowiem podobnie jak ona, tysiące samotnych, zadumanych kobiet o bladem obliczu, w czarnej szacie stawało i stawać będzie nad brzegiem morza, w wieczorną godzinę życia, podczas gdy zmrok zapadać będzie w nich i naokół nich, podczas gdy wichry ułożą się do spoczynku w przyrodzie i w ich duszy, po burzach, które huczały nad niemi, nad jedną, drugą, dziesiątą — nad wszystkiemi, przez setki lat, przez lata, które już minęły i lata, które dopiero przyjdą. Taką jest ta kobieta w czarnej szacie, jaką wir jakoby opasał jej postać kraj jej zdmuchując na ziemię.

I znowu minęło wiele lat a człowiek, że gnając przez życie, dotarł właśnie do nieprzeniknionych mroków „Wyspy śmierci“. W pośrodku morza, które od czasów przedwiecznych w tym samym zdaje się spoczywać spokoju, wznoszą się chropawe ściany skał z otworami, podobnemi do grobów. Spowite są w zasłony, które tka dla nich spadek wód, wypełniających jednostajnym szmerem swoim rozpanoszoną tu ciszę. Dalej — przestrzeń pełna ciężkich chmur: z jednej strony przedziera się może promień słoneczny, lecz trudno go rozpoznać w tym nieokreślonym chaosie. Zaś wnętrze wyspy, bez względu na jej obszar — to absolutny mrok. Z tajemniczego jej łona wyrastają długie, wązkie cyprysy; ku czarnym tym otchłaniom, ku dwom białym słupom, strzegącym wejścia, płynie zwolna, z cicha czółno, w którem stoi człowiek, z głową pochyloną, w biały, szeroki całun odziany. Twarz ma zwróconą ku czarnej przestrzeni, która go za chwilę pochłonie, zdmuchnie tak, jak gdyby nie był: lecz spokojny jest, spokojny jak morze, spokojny jak ruch czółna, spokojny, jak nieruchome cyprysy, zatopiony w tym samym uroczystym spokoju, jaki zawisł nad całym krajobrazem „Wyspy śmierci“.

A oto historya pór życia, tj. historya życia naszego: Na samym przodzie, po obu brzegach strumienia, który cichaczem przerzyna łąkę, pokrytą trawą i kwieciem, skąpaną w błyszczącej zieleni i jaskrawych barwach słońca letniego, siedzi dwoje nagich dzieci. Bawią się, rzucając kwiaty do wody i przyglądając się unoszącym je falom. Tył obrazu zajmuje fontanna z głową sfinksa, z której woda spływa do strumienia. Ona stanowi centrum — przedstawia bowiem niewyczerpane źródło życia. Opodal, z prawej strony, więcej ku przodowi wysunięta, stoi młoda kobieta w ciemno-błękitnej zasłonie, w zasłonie błękitnej, jak niebo i nadzieja a obsianej gwiazdami. Stoi na wpół odwrócona od młodego jeźdźca w hełmie i purpurowem odzieniu — w ręku zaś trzyma kwiatek. Tego, co po za fontanną leży, nie widać, spostrzega się tylko krajobraz i widnokręg; odgadnąć jednak łatwo, że to krajobraz i widnokręgi życia i że od nich powrócił ten starzec, który

*) Przełożyła z upoważnienia autora, Malwina Posner-Garfein.

tam w głębi, w cichej, poważnej siedzi zadumie. Za nim, tuż pod niebem, postać dziwnie fantastyczna — jedna linia prosta, stanowiąca tułów i cztery prostokątne linie, wyobrażające nogi i ręce — olbrzymią spuszcza ku niemu kosę. Wszystkie te postacie cechuje najgłębszy spokój; jest on w tej dziewczynie, która czeka, czeka, nie wie na co czeka — a czeka na życie; jest w młodzieńcu wyprostowanym, nieruchomym, słuchającym jakoby tętna życia, które leży po za fontanną a do którego wedrzeć się pragnie; jest w starcu, który ztamtąd powrócił, wyniosłszy jedynie zadumę swoją. Zaś zaduma ta w jaskrawych barwach zarysowuje przed nim różne obrazy: obraz dziecka, które bezmyślnie rzuca kwiaty w fale, obraz młodej dziewczyny, która stoi i czeka na coś, czego określić nie umie, a co jest życiem pod postacią młodego jeźdzca w purpurowej szacie, lecz i młodzian nie zauważył jej, widział bowiem tylko świat, leżący po za fontanną i pofrunął w ten świat, by powrócić jako starzec-samotnik... Nie wie on, kto stoi za nim i kto na jego głowę zamierza się kosą, podobnie jak nie wiedział, że to, czego przez całe życie szukał daremnie, niegdyś stało tuż obok niego i na niego czekało... A po nad tem wszystkiem sklepia się niebo, bezbrzeżne, ciepłe, błękitne, niebo letniego popołudnia i wielkiej ciszy letniej, niebo, pełne owych ciężkich jak wełna i białych jak wełna chmur, o których zdawaćby się mogło, że zatrzymały się w biegu i zawisły wśród ogólnego spokoju.

II.

Spokój ten stanowi jednolitość osobowości i utworów Böcklina, stanowi główną ich cechę, nadaje im pozytywną odrębność i odróżnia od wszystkich współczesnych malarzy. Był już w jednej z najwcześniejszych prac mistrza. Płótno owe przedstawiało młodzieńca i dziewczynę, Böcklina i jego narzeczoną w chwili, kiedy ująwszy się za dłonie, wspólną po jakiejś okolicy odbywają wycieczkę; a z biegiem lat, rys ten, podobnie jak szlachetne wino, nabierał woni i siły, tak że w jedno z ostatnich dzieł malarza-filozofa, w tę najpierwotniejszą alegoryę „Cztery pory życia“, potrafił tchnąć duszę i poezyę.

Jeżeli jednym rzutem oka obejmiemy bogatą różnorodność obrazów Böcklina, jeżeli skupimy je w jedno ogólne wrażenie, otrzymamy obraz i uczucie spokoju, harmonii i wywczasu.

Jeżeli natomiast spojrzymy na szereg przedstawicieli naszej epoki, na indywidualność ich i dzieła, to wśród wielkiej różnorodności wrażeń otrzymamy jedno tylko ogólne wrażenie: wrażenie braku zaokrąglenia, skończoności. Zauważymy brak tego spokoju, który tak głębokim jest i jasnym, że zdawaćby się mogło, iż walczyć oń nie potrzeba; że jest spokojem instynktu, spokojem, który zawsze istniał i nigdy nie był zmąconym. Spokojem, który wyłania się z życia wtedy, gdy z wszystkiemi sprzecznościami swojemi skupiło się w jednej osobowości; spokojem wreszcie, który staje się własnością wyjątkowych ludzi, tych, co potrafili ujarzmić wszechświat i położyć go u nóg swoich niby dzikie, wzrokiem ułaskawione zwierzę.

Pierwszym w owym szeregu jest Nitzsche. Jest on człowiekiem — jedynym w swoim czasie człowiekiem — który w istocie najwewnętrzniejszego swego ja, wśród najokropniejszej walki i najboleśniejszej metamorfozy osobowościowej, przezwyciężył stary pogląd na świat i wywalczył sobie nowy. Radość jego z powodu tego czynu przelała się w lirykę o rytmach tak potężnych, że w ich falach tonie cała pozostała poezya współczesna, tonie tak niesłyszalnie, jak gdyby nigdy jej nie było. Lecz spokoju nie ma w jego radości, spokoju prawdziwego zwycięzcy nie ma w niej. Jest on wielkim bohaterem kultury, atoli walkę, w imię ludzkości podjętą, okupił złowrogiem dla osobowości zwycięztwem Pyrrhusowem i zapomnieć tego nie może. W wspaniałym jego hymnie zwycięzkim, dźwięczą jakieś fałszywe tony, na popękanym bowiem wygrywa je instrumencie. Jest to hymn pochwalny człowieka, powracającego do zdrowia, lecz drży w nim jeszcze echo jęków i skargi przesilenia. Pogląd na świat i indywidualność przebyły metamorfozę; stary pogląd na świat został potrzaskany i wyłonił się — nowy; lecz w indywidualności powstała rysa. Poezya Nietzschego jest jakoby potężną symfonią, wygraną ku chwale indywidualnego spokoju Zarathustry; jednakoż sama spokojem owym nie jest. Chce nim być, uważa bowiem spokój ten za ideał najwyższy — lecz nie jest nim; określa, ubóstwia go, tęskni za nim, lecz nie jest nim; obstaje przytem, że go posiada, wie, że tak nie jest, usiłuje jednak zapomnieć o tym braku i w innych wzbudzić dla niego zapomnienie. W ukrytej atoli świadomości tego braku, odzywa się żal, zaś niezdolność pochwycenia wyślizgującej się wciąż Dafne zwraca apostoła silnego, pełnego życia ku zgryźliwej apoteozie wrogich życiu i osobowości instynktom.

A jakież z dramatów Ibsena wynosimy wrażenie? Oczywiście, na wrażenie to składają się różne pierwiastki — odmienne w każdej sztuce; lecz zasadniczy rys nastroju pozostaje zawsze ten sam, ponieważ panuje tu zawsze jeden pierwiastek i o wrażeniu stanowi. Jest to wrażenie wewnętrznego niezadowolenia, niepokoju — uczucie, którego doznaje się wśród tych wielu małych przykrości codziennego życia, ilekrotnie widzi się zawikłanie bez wyjścia, konflikt — bez możności rozwiązania. Tylko, że uczucie to jest w danym razie bez porównania silniejsze, gdyż zawikłanie i konflikt znajdują się w dziedzinie najgłębszych i najwyższych zagadnień życia. Jest to uczucie ciężkości, tej ciężkości, jaka trapi indywidualność człowieka, ilekrotnie utworzy się w niej zgrubienie, które nie chce się rozejść, nie przechodzi w istotę, jako materya odżywcza i nie zlewa się z nią. Jest to rodzaj duchowej dyspepsyi, jeżeli wyrażenia tego użyć mi wolno. Przy opracowywaniu i kształtowaniu tematów swoich, sam Ibsen posiada pewien spokój, jednakoż nie jest to ten rodzaj spokoju, któryby bezpośrednio, jako cząstka nas samych w nas wnikał; jest to tylko spokój absolutnego sceptyka: najsubtelniejsza, najbardziej wyszlachetniona forma obojętności. Pogląd na świat Ibsena wyraża się w pytajniku, w sławnym Ibsenowskim pytajniku; postawienie tego znaku mogło mu być rozkoszą; stawiając go, odczuwał może wielki spokój duchowego aktu tworzenia, spokój chwili poczęcia, spokój objęcia całkowitego obrazu świata; dla nas jednak są to tylko znaki wewnętrznego braku spokoju. Każdy dramat Ibsenowski jest dziełem rozkładowem; całokształt zaś prac jego stanowi negacyę całkowitej syntezy ustroju.

Pod względem rozwoju osobowości i porządku dzieł i ideałów, Tołstoj, odkrywając w „Sonacie Kreuzerowskiej“ serce swoje, sprawił, iż zdało nam się, jakobyśmy wśród samotnej, błędnej wędrówki po kraju, gdzie niegdyś rozsiadły się były roje mongołów, trafili nagle na jakąś z czaszek trupich wzniesioną piramidę Czingischana. Tam bowiem, gdzie miało być serce w temperamencie tym, który okazał się był ciepłym, jak ziemia rodzicielka i sił żywotnych pełnym, jak nieświadomie rozradzania się pragnąca roślina — tam była teraz tylko próżna, czarna, jak grób zimna, pustka: popęd niszczenia, popęd zabicia w sobie tego, co życiem jest, instynktowny wstręt dla własnych funkcyi organicznych.

Możnaby przytoczyć nieskończoną liczbę takich przykładów. Każda dla epoki naszej charakterystyczna indywidualność i każdy charakterystyczny umysł nowym mógłby być przykładem. Zatrzymam się tylko jeszcze na Strindbergu, ponieważ niezwykle wyraźnie uosabia on ten typ współczesny w jednej, specyalnej dziedzinie, w dziedzinie umysłowej. Olbrzymi, jak śpichrz przepełniony mózg Strindberga jest chaosem, w którym wszystko tłoczy, spycha się, popycha się naprzód, wywraca koziołki: jest to orgia myśli, pochód karnawałowy wszelkich idei współczesnych, walka tłumów myśli — bez wodza. Kolejno wszystko na mózg ten działa; wszystko jest dlań równie nowe i równie go silnie przejmuje; nic nie wiąże się tam z czemś już istniejącem: inteligencyą przerzuca się z jednej idei na ideę wprost przeciwną, nie szukając wiązadła. Nowa myśl, nowe spostrzeżenie, wyniesione z ksiązki lub z życia, w mgnieniu oka przetwarzają się w mózgu tym w nową prawdę, a prawdę absolutną, jedyną, maniacką. Jedyną formą, w jakiej mózg ten, niemogący objąć więcej niż jeden szereg myśli lub jeden szereg faktów, zachowuje władzę i wywiera siłę, jest — monomania. Zgodnie z tem, typ rozwojowy u Strindberga jest zindywidualizowanym, ogólnym typem rozwojowym naszych przeciążonych, pozbawionych instynktowości i dla tego tak chaotycznych czasów. Cała twórczość literacka Strindberga, jest tylko obrazem walki, ciągłej walki na śmierć i na życie, między wrogiemi pierwiastkami — jest obrazem bezprzestannego wznoszenia się i opadu obu szalek. Strindberg kolejno z fanatyzmem głosił najróżniejsze poglądy na świat, by je następnie z równym fanatyzmem zbijać. Obecnie jest nadczłowiekiem, walczącym przeciwko Gminowi i Ewie, jest z własnej woli mścicielem wielkiego intelektu wobec muskułów robotniczych i chytrości kobiecej. I prawdopodobnie, w miarę tego jak z łona czasu wypłyną inne, nowe ideały, nowe ideały wyznawać i zwalczać będzie. Jest to naturalnym rysem młodości; jeżeli jednak stan taki trwa przez całe życie, natenczas zdradza wewnętrzną wadę organiczną, zdradza brak punktu ciężkości i brak ciepła żywotnego w jednostce. Ten zaś mózg, którego rozwój polega na nieskończonym szeregu neutralizujących się wzajem działań przeciwnych prądów elektrycznych, jest jakoby mikrokosmem teraźniejszości. Z niespokojnych mętnych fal jej sztuka Böcklina wypływa niby zaczarowana wyspa starożytności, ukazuje się nam, oblana potokiem słońca południowego, w blasku południowego błękitu, lśniąca białym marmurem wśród ciemnej zieleni. My zaś, ludzie współcześni, chętnie do wyspy tej przybijamy, albowiem instynkt szepcze nam, że tu, wśród marzeń i skupienia, własny nasz, najbardziej własny odnajdziemy spokój.

P. T.

(Dokończenie nastąpi.)

Niemiecka powieść Stanisława Przybyszewskiego.

(Stanisław Przybyszewski, Unterwegs. Berlin 1895.*)

Indywidualizm dzisiejszy nie ma nic wspólnego z potężną osobistością, jaka pojawiała się niekiedy w wiekach starożytnych i średnich, oprócz wspólności pochodzenia: źródłem jego — wybitna chęć władzy.

„W czasach, w których uczucia stadne ześrodkowały się w potężnem dążeniu do zjednoczenia, w których prawa jednostki ściśle są oznaczone, kiedy wszelki przejaw panowania uważać trzeba za pogwałcenie praw tych i ograniczać wedle możności, kiedy wszystko, cokolwiek przekracza miarę codzienną, zwykłą, tradycyonalną, zwalczane jest jako szkodliwe i niebezpieczne, trudno przewidywać rozwój instynktów despotycznych, sił żądnych czynu, myśleć o zużytkowaniu zdolności, przechodzących średnią miarę.

„Jednostka tego rodzaju nie znajduje w społeczeństwie miejsca dla siebie... staje się rodzajem Tschandala czy Paryasa; zaczyna się uważać za indywidualność.

„Indywidualności dzisiejszej nie odstępuje uczucie, że stoi po nad ludźmi, po za dążnościami rynku i tłumu, — najsilniejszem zaś jest wrażenie, że instynkty jej giną, źródło siły wysycha stopniowo; historya jednostki staje się smutną monografią zatamowania woli, obałamucenia instynktów, dziejami powolnie tworzącej się rozpadliny z której woda, nie znajdując ujścia zapada w głębie, rozbija masy kamienia, a skałę rozdrabnia na kawałki...“

W taki niezupełnie jasny i trochę napuszony sposób charakteryzuje Przybyszewski indywidualność dzisiejszą (Chopin und Nietzsche, Berlin, 1892), dodając przytem, że nie ma w niej

---

*) Stanisław Przybyszewski pochodzi z Kujaw Gimnazyum ukończył w Wągrówcu, studya uniwersyteckie odbył w Berlinie. Przyp. Red.

szczerości, że chce być czemś od reszty odrębnem. właściwości jej przeto nie są mimowolnym, potężnym prądem, który zrywa wszystkie tamy.

Kto wie, czy słusznej tej końcowej uwagi zastosować by nie można do samego autora. Nie wolno bez wątpienia wyprowadzać z prac autorów takich osobistych wniosków, skoro jednak pisarz stara się być przedewszystkiem subjektywistą, gdy był nim już w „Totenmesse" oraz jest w powieści, której tytuł przytoczyliśmy, gdy w ulubieńcach swoich choćby byli tak odrębnemi osobistościami, jak Chopin i Nietzsche, upatrywać chce koniecznie podobieństwo tylko dla tego, że są jego ulubieńcami, czyż nie zapytamy, kim jest p. Przybyszewski, tem bardziej, że to nasz rodak, a choć pisze po niemiecku i to niemczyzną wytworną, na okładce podpisuje się Stanisław?

Przybyszewski jest artystą, nie chcemy twierdzić, że z bożej łaski genialnym; to niech pokaże przyszłość, ale ma duszę wrażliwą, która umie odczuwać piękno i niekiedy akordy pełne z siebie wydobyć. Podobno, że artyzm jego głównie przejawia się w muzyce, gra Chopina cudownie, upajająco, melodyą hypnotyzuje innych i siebie; o powieści jego powiedzieć tego niestety trudno; jako Falk, osoba główna, zahypnotyzował bohaterkę, która ulega jego woli, ale wątpimy, aby ktokolwiek z czytelników dał się oczarować. Autor jest produktem krzyżowania się bardzo różnorodnych wpływów kulturalnych. Polak jest pisarzem niemieckim, niegdyś redaktor pisma robotniczego, dziś zapalony indywidualista, wstępujący w ślady Strindberga i Nietzschego, wszelkie dążenia do wspólnej pracy i podniesienia masy na wyższy poziom zowie przejawem instynktów stadnych. Znać na nim również odbicie literatury skandynawskiej, może wskutek umysłowego pokrewieństwa, a może i przez osobiste stosunki potrochę, żona jego jest pochodzenia norwegskiego.

Jeżeli zwracamy się dziś do jego ostatniego utworu, choć może jest najsłabszym z dotychczasowych, to nietylko dla tego, że jest nowością, ale i dla dania przykładu, jak wyglądają w praktyce teorye indywidualistyczne.

Zaiste niewesoło, a raczej bardzo ucieśnie, gdyż to, co u ludzi zwyczajnych nazwać by można i trzeba zwykłą obłudą i łotrostwem, indywidualista, uważający siebie za nadczłowieka, tłomaczy bogactwem i oryginalnością swej natury.

Bohater powieści, Falk, jest publicystą i powieściopisarzem, naturą fantastyczną o silnych instynktach, umyśle lotnym, ale jednocześnie i wysoko praktycznym. W rodzinnem swem miasteczku pokochał młodą dziewczynę, Marit Kaner, która podziela jego uczucia z całym zapałem osiemnastoletniego serca i czeka rok cały na powrót wybranego z Francyi. Tymczasem w miasteczku zaczynają krążyć głuche wieści, że Falk miał romans z dziewczyną, która mu dała dziecko, to znów, że się ożenił, on zaś nie daje znaku życia. Wreszcie powraca do matki, stale w miasteczku mieszkającej, przesiąknięty wpływami stolicy francuzkiej, jak powiada, a właściwie przepojony frazesami i pojęciami o nadczłowieku, jego prawach wyjątkowych, uwielbieniem dla własnej indywidualności, zdenerwowany, podtrzymując się alkoholem i aż trzema naraz serdecznemi stosunkami. Dziecko ma istotnie, i jak powiada, kocha je bardzo, ale matka gdzieś znikła; poczem ciężko chorował. zjawiła się u jego łoża jakaś pokrewna mu dusza niewieścia, arystokratyczna z urody i pochodzenia, a radykalna w poglądach na życie, p. Perier. Jest ona dobrą i tak rozumną, że pojęła nawet jego nadczłowieka. Ożenił się z nią przeto, ale związek ten utrzymywał w tajemnicy. Pamięta bowiem piękną i młodocianą Marrit, która większe na nim czyniła wrażenie, niż którakolwiek kobieta w życiu. Spotykają się: dziewczyna z drżącem na ustach zapytaniem, on, zakłopotany zrazu wyznaje, że choć ją kocha, wszystko między nimi skończyć się musi, prosi ją o przyjaźń. Z czasem jednak buntuje się przeciw tym pętom, narzuconym sobie przez jakieś pojęcie uczciwości czy honoru, opowiada dziewczynie, że wszystko, co jej powiedział, było żartem, że ją jedynie kocha i przy niej pozostanie i korzystając z dziwnie namiętnego charakteru dziewczyny i nieobecności jej rodziców, spędza z nią noc miłosną.

Teraz przecież następuje okres szczerości: zwierza się naprzód matce, że jest żonaty i zjednywa ją dla siebie, jednocześnie czuje, że żonę swą namiętnie kocha i pisze jej o tem, do Marrit zaś podąża rankiem dnia następnego po owej szalonej nocy: czuje, że powrócić musi, aby jej coś powiedzieć. To coś — to brutalne wyznanie, że ma żonę i że ją kocha. Prawda, że Falk jest w gorączce, ale wyznanie to dyktuje mu jego natura silna i bezwzględna, która nie rozumuje i nie zastanawia się, jakie wrażenie może zrobić to wyznanie. Jakoż silny tryumfuje, gorączka mija, a ostatnia scena przedstawia nam żonę Falka, siedzącą u łoża chorego. Marrit zaś, ocucona nagłem wyznaniem. rzuca się do wody i tonie.

Falk jednak nietylko w miłości umie godzić idealne porywy, choćby zupełnie rozbieżne miały dążności, ale i w polityce. W rozmowie, którą zadziwia polityków małomiasteczkowych, ujawnia się jako demokrata i zwolennik monarchii, pod której opieką jedynie powstać mogą dzieła sztuki, rozumie i usprawiedliwia teorye i czyny anarchistów, ale jest zwolennikiem wymierzania im kary śmierci, gdyż poczuwa się do wspólności ze społeczeństwem, przeciw któremu występują. Sądzę, że w nadczłowieku takie przystosowanie do warunków istniejących wzbudzić musi co najmniej zdziwienie i pożądanie jak największej liczby nadludzi, skoro z tem tak wygodnie być może.

Przecież, żart na bok, powieść „Po drodze" jest płytką. Podobne stosowanie teoryi filozoficznych jest czemś w rodzaju modlitwy do patrona przed popełnianiem kradzieży, a wykrzywienie teoryi Nitzschego, którego p. P. trafnie przecież ocenia w poświęconej mu monografii raz jeszcze ilustruje, jaka przepaść jest między teoryą a pojedyńczemi przykładami, w które ona się wciela.

Istnieją filozofie niebezpieczne. dziwnie podatne do przebijania ich na drobną monetę teoryek i sympatyi; do takich należy Nietzsche raczej artysta, niż myśliciel, mistrz formy, arfa dźwięcząca tysiącznymi tonami, z których każdy w dziełach jego znalazł obraz odpowiedni. Mało kto oceni tę jego wielką estetyczną wartość, znajduje się zaś wielu Falków, którzy w teoryach jego odnajdą wygodne usprawiedliwienie swych czynów.

Żałujemy, że polski autor w tak ujemny sposób odzwierciedlił nowe prądy indywidualistyczne, gdyż bohater posiada zupełne jego uznanie. Jak się odzwierciedla Nietzsche w powieści drugiego autora, Wilbrandta, opowiemy czytelnikom wkrótce.

S. Z. D.



W sprawie procesu Aleksyanów.

Sensacyjny proces klasztoru Aleksyanów w Mariabergu wywołał nietylko w Niemczech, lecz w całej cywilizowanej Europie potężne wrażenie, a wyrok przyjęto wszędzie niemal z głębokiem zadowoleniem. Nawet prasa klerykalna, która niejednokrotnie już złożyła dowody, że tam, gdzie opinji klasztornych instytucyi grozi najmniejsze niebezpieczeństwo, umie grzech lub lekkomyślność blaskami cnoty i obowiązku osłonić, nie odważyła się występnych braciszków otoczyć skrzydłami opieki swojej i starała się jedynie udowodnić, że nadużycia w domach obłąkanych dzieją się wszędzie, — nietylko w klasztornych, lecz i w państwowych zakładach. Z drugiej strony skorzystała prasa liberalna z wygodnej sposobności, aby urządzić hecę przeciw klasztorom i zakonom wogóle, podnosząc z naciskiem, że braciszkowie pełniący służbę w imię Chrystusowej miłości, z różańcem u pasa, odegrali rolę dzikich zwierząt wobec biednych obłąkańców. Nie myślę bynajmniej zaprzeczyć, że Aleksyanie zasłużyli sobie zupełnie na pogardę głęboką i potępienie, któremi ich darzy całe myślące społeczeństwo, — zdaje mi się jednak, że znaczenie procesu nie polega na zdemaskowaniu fałszywej świętości, lecz przedewszystkiem na odkryciu ujemnych stron dotychczasowych przepisów i praktyk, stosowanych w Niemczech przy internowaniu oraz kontroli obłąkanych w zakładach prywatnych, i w dalszej konsekwencyi na zwróceniu powszechnej uwagi ku istniejącym ustawom o umałoletnianiu, nasuwającym poważne wątpliwości.

Wypowiedział niegdyś prof. Mendel zdanie („Nation". r. 1893), że „byłoby w najwyższym stopniu pożałowania godnem, gdyby władze pruskie zdecydowały się zaprowadzić obostrzenia w sprawie przyjmowania chorych do prywatnych zakładów dla obłąkanych", a innym razem oświadczył publicznie, że należy postarać się o to, aby lekarze zakładowi znaleźli skuteczniejszą obronę prawną przeciw zaczepkom publiczności. Opinje takie znalazły swojego czasu w prasie należytą odprawę, a w rzędzie przeciwników Mendla nie stanęli wyłącznie lajcy, obdarzeni tylko zdrowym rozsądkiem, których patentowana nauka lubi lekceważyć, lecz poważni badacze chorób umysłowych i rutynowani rzeczoznawcy; że wspomnę tylko Forela i dr. Alberta Molla. Walka obrońców dotychczasowego systemu z zwolennikami reformy rozgrywała się z małemi przerwami z rosnącą zaciętością w łamach popularnych i poważnych czasopism, a proces Aleksyanów stał się nowym etapem wojny, — dotkliwą klęską prof. Mendla i przyjaciół jego.

Wykazało się bowiem w czasie akwizgrańskich rewelacyi, że obecne przepisy dotyczące internowania obłąkanych w prywatnych zakładach nie stanowią żadnej obrony przeciw nadużyciom, — wykazało się, że posłuszeństwo dla regulaminu istniało tylko w teoryi, że opinje lekarskie wydawano z niesłychaną lekkomyślnością, że dla braku należytej kontroli rzucano pacyentów na pastwę rozpasanej służby, że umieszczanie niewygodnych osób w instytucyach dla ludzi umysłowo chorych jest wobec istniejących przepisów rzeczą nader łatwą, a łatwiejszą jeszcze przetrzymywanie więźniów przez długie lata w zakładach. Stwierdzono w Akwizgranie, że urzędowy lekarz, fizyk i tajny radzca sanitarny dr. Kröbben badał głośnego pana Forbesa w r. 1893 przez minut 15 i poświadczył konieczność internowania, a w następnych trzech latach żaden lekarz nie przystąpił już do kontroli umysłowego stanu rzekomego pacyenta.

Wobec panujących zwyczajów i swobód wrota do zbrodni stoją tu otworem. Przy pomocy jednego lekarza można z łatwością pozbyć się bez ambarasu niemiłych osobistości, jeżeli lekarz ten jest łotrem, człowiekiem lekkomyślnym lub maniakiem, upatrującym śladem niektórych znanych psychiatrów umysłowe zboczenia w każdym człowieku. Wszelkie przepisy policyjne, obowiązujące obecnie zakłady prywatne, są czczą formalistyką, a proces Aleksyanów udowodnił znowu, że komunikaty, udzielane przez zarząd szpitalny prokuratoryi, nie chronią bynajmniej przed bezprawnem pozbawieniem wolności. Zresztą opinia lekarza posiada przed sądem zawsze niemal decydujące i wyłączne znaczenie, i tam nawet, gdzie sprzeciwia się zeznaniom świadków, zakłada nieraz podsądnym kaftan obłąkanych lub pozbawia ich praw obywatelskich normalnego człowieka w elastycznej i subjektywizmowi sędziów szerokie pole otwierającej procedurze „umałoletniania". Zdarzyło się przed rokiem w państwie pruskiem, że niejakiego p. Feldmanna umałoletniono na wniosek żony, która w krótkim czasie po ogłoszeniu wyroku roztrwoniła 700,000 marek mężowskiej fortuny. Sam przebieg procesu świadczy wymownie o problematyczności fachowych opinii. Feld-

mann bowiem powątpiewał o wierności swej żony, a pewien znany psychiatra orzekł na tej podstawie, że „nieuczciwość żony“ jest u p. F. chorobliwą „idée fixe“ i powoduje „manję podejrzeń“, lubo kilku zupełnie wiarogodnych świadków pod przysięgą zeznało, że pani F. stała istotnie w bardzo czułych stosunkach z przyjacielem domu. Inny zaś lekarz legalizował na czas nieograniczony internowanie Feldmanna w domu obłąkanych na mocy piętnastominutowej rozmowy z człowiekiem, rozdrażnionym w najwyższym stopniu nieszczęściem swojem, występkiem pięknej małżonki i wynikiem procesu.

Podobnych wypadków namnożyło się w ostatnich latach niemało i coraz częściej odzywały się w zaniepokojonej opinii publicznej twierdzenia, że w publicznych, a przedewszystkiem w prywatnych zakładach trzymają i w najbrutalniejszy sposób męczą ludzi zdrowych. Wszystkie te wołania jednak żadnego nie odniosły skutku, i ilekroć znalazł się człowiek odważny, rzucający słowo krytyki, zawsze nieomal zjawiał się na horyzoncie prokurator z paragrafem o obrazie w ręku i biedny śmiałek wędrował na ławę oskarżonych. Wynik procesu dla oskarżonego bywał zwykle smutny. Jeżeli mu się nie udało wszystkich inkryminacyi w najmniejszych drobiazgach udowodnić, jeżeli w oburzeniu swojem nie liczył się skrupulatnie z każdym wyrazem i rzucił słówkiem ostrzejszem, wtedy zasądzano go zwykle za obrazę, a ci, przeciw którym walczył krytyką swoją, korzystali z wyroku jako tarczy obronnej, lubo treść zarzutów w znacznej części okazała się prawdziwą. Szeroka publiczność dowiadywała się tylko, że oskarżyciel zakładu obłąkanych sprawę przegrał, a władze inkryminowanych instytucyi prezentowały się jako ofiary oszczerstwa.

I bohaterowi akwizgrańskiego procesu, panu Mellage, los podobny zagrażał: Prokurator wprawdzie nie wątpił, że kompromitującego postępowania dowodowego uniknąć nie może, sądził jednak, że mimo to po stronie obżałowanego znajdzie się zawsze jakieś drobne przewinienie, podlegające karnej ustawie. Oskarżyciel państwowy nie zastanawiał się, dokąd podobna praktyka sądowa zaprowadzić musi, lecz zliczywszy dokładnie wszystkie nadużycia wykryte w śledztwie i odliczywszy je od sumy twierdzeń obciążających, zawartych w broszurze p. Mellage, doszedł do przekonania, że na mocy takiej substrakcyi wyrachować można pewne drobne saldo na niekorzyść obżałowanego; tu i owdzie bowiem jakiś zarzut nie był w pełni udowodniony, tu i owdzie użyto za ostrego wyrazu i oto proces był gotów.

Prawodawstwo jednak nie powinno być rachunkową operacyą, nie powinno się rządzić tak mechaniczną formalistyką tam, gdzie rozstrzygają się kwestye o najwyższem znaczeniu idealnem dla jednostek i dla ogółu; sprawiedliwość paragrafowa a słuszność to nie identyczne pojęcia, — prawda ta jednak dziś jeszcze na ziemię nie zstąpiła i dla tego najszlachetniejsze czyny zyskują niekiedy miano występku a największe nadużycia kryją się za płotem paragrafów. Toż zręcznie ukrytą zgniliznę trudno zbadać dokładnie i bezbłędnie w najdrobniejszych szczegółach, i trudno nadużycia w skuteczny sposób piętnować bez narażenia się w formie na obrazę tych, z którymi się walczy. Ludzie obdarzeni prostym rozsądkiem i zdrowem poczuciem sprawiedliwości uwolniliby bez wątpienia obżałowanych tam, gdzie znaczna część ich zarzutów, stanowiących kamień obrazy, okazuje się prawdziwą, ale prokuratorzy i sędziowie wychowani w fałszywym systemie i nastrojeni na suchy ton paragrafów lękają się nieraz podszeptów zdrowego rozsądku i instynktu sprawiedliwości. Fiat iustitia, pereat mundus, — oto ich dewiza.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zasiadali w akwizgrańskiem procesie sędziowie, którzy zdobyli się na odwagę pominięcia litery paragrafów, gdy prosty rozsądek i uczucie wyższej sprawiedliwości przemówiły na korzyść pana Mellage. Nabrano przekonania, że obżałowany położył uznania godną zasługę koło społeczeństwa, zdzierając maskę z tajemnic klasztornych, — nabrano przekonania, że przeważna większość zarzutów jego nie była produktem fantazyi, — i w takiem mniemaniu odrzucono wniosek prokuratora o ukaranie autora głośnej broszury, lubo wniosek ten ze stanowiska ścisłej formalistyki i logiki paragrafów był niewątpliwie uzasadniony.

Jakie będą konsekwencye procesu Aleksyanów, przesądzać nie śmiem. O ile jednak z wtorkowych wynurzeń ministra oświecenia w sejmie pruskim wnioskować można, to znajdujemy się w przededniu pożądanych reform. Dr. Bosse bowiem zapewnił, że opracowano już nowe przepisy w sprawie przyjmowania obłąkanych, urządzenia zakładów i wpływu lekarza na chorych i personał zakładowy, a nadto oświadczył, że niebawem zarządzi ścisłą rewizyę wszystkich prywatnych instytucyi dla chorych umysłowo.

Słowa ministra podziałają niewątpliwie uspakajająco na opinię publiczną, która coraz głośniej i coraz groźniej szemrać zaczynała. Tak! żądamy reformy, — żądamy przedewszystkiem, aby między domem obłąkanych a podejrzanym pacyentem zbudowano rozszerzony system badania, aby prawodawstwo, dotyczące umałoletnienia uległo reformie, ograniczającej o ile możności subjektywizm sędziów i wszechpotężne wpływy urzędowych psychiatrów, u których nieraz manią się stała pogoń za zboczeniami umysłu, — żądamy wreszcie, aby zakłady dla obłąkanych podlegały najczęstszej rewizyi i najściślejszej kontroli. Nadużycia bowiem mają naturę grzyba, który najprędzej wyrasta w takich budynkach, gdzie dla słońca i powietrza mało jest przystępu.

-ski.

Ze Szląska Polskiego.

(Zakaz używania języka polskiego a ministeryum oświecenia. — Nowoczesny pręgierz dla polskich dzieci. — Śpiący rycerze szląscy. — Potrzeba więcej zdecydowanego wystąpienia. — „Katolik“.)

Gdyby nie słowa naszego posła p. majora Szmuli, wypowiedziane temi dniami w parlamencie w obronie petycyi ks. Szymańskiego z Dąbrówki o udzielanie dzieciom tamtejszym polskiej nauki, trudnoby uwierzyć, że minister oświaty nie pochwala systemu szerzenia niemczyzny przez pruskich nauczycieli, którzy zakazują dzieciom szkolnym po za szkołą mówić pomiędzy sobą po polsku i za niezastósowanie się do tego nakazu karzą je cieleśnie. Tem więcej jednak zadziwiać musi do jakiego stopnia dochodzi znęcanie się zacietrzewionych germanizatorów śląskich nad polską dziatwą za używanie mowy rodzinnej.

Temi dniami opowiadała kobiecina z powiatu opolskiego, że w wiosce jej zamieszkania, Czarnowąsach, nauczyciel wpadł na osobliwszego rodzaju pomysł karania nieusłuchanych dzieci polskich. Owoż tedy sprawił z własnych funduszy, czy z regencyi otrzymał czarną drewnianą tablicę tak wielką, że ją dziecko szkólne z trudem może udźwignąć Na tablicy tej dużemi głoskami widnieje napis:

„Ich habe polnisch gesprochen“. Dziecko, o którem się sławetny pedagog z Czarnowąs dowie, że mówiło po polsku, musi za karę tablicę tę przez wieś całą z szkoły do domu i w dniu następnym napowrót z domu do szkoły nieść na plecach, ku ogólnemu pośmiewisku swych współżaków.

Nic nowego pod słońcem, więc i ten niby nowy, a w istocie z średnich wieków odgrzany sposób publicznego ośmieszenia i zniesławienia kogoś, dawniej pręgierzem zwany, nie zadziwi może świata przyzwyczajonego do różnych dokumentów pruskiej cywilizacyi, lecz spotęguje wstręt nasz do pruskiej pedagogii i narzędzi systemu deptania wszystkiego co uczciwe a wzniosłe.

Coraz tu smutniej i coraz dotkliwiej pali nas system niemiecki, a przecież — e pur si muove. Rycerze śląscy, jak o nich podanie niesie, śpią dotąd wiekowym snem ujęci w klasztorze Trzebnickim. Wiara ludu twierdzi, że oni wstaną kiedyś, nam na pomoc a na zagładę dzisiejszych faraonów. I trudno nie wierzyć porówno z ludem, patrząc na to, jak z dnia na dzień prawie w oczach naszych powstają do walki nowi ludzie, nowi rycerze św. Jadwigi. To, czego nam czynić nie wolno, wypełnia sumiennie spółka H. K. T. — budząc bezgraniczną czelnością i krzykami naszych śpiących „Maćków“.

Jeżeli „Katolik“ wobec bezwstydnych rozpraw i uchwał wrocławskiego zebrania Hakatystów aż nawet rozstawnemi głoskami drukuje: „będziemy się bronili“, to i za tę nieokreśloną „nadzieję jutra“ wdzięczni mu jesteśmy, lecz my już wczoraj i dziś jesteśmy bici i oplwani i dziś już potrzebujemy obrony, nie tej, która tylko kornie błagać umie sprawiedliwości i upamiętania się, lecz tej, która harde stawia czoło przeciwnikom i bez trwogi niesie światło narodowe i gromką pobudkę po kraju. Wiadomość „o banku ludowym w Bytomiu“, pierwszej polskiej instytucyi tego rodzaju na Szląsku, powtórzyły za „Gazetą Opolską“ wszystkie prawie pisma polskie i niemieckie. Jedyny „Katolik“ bytomski tylko nie wie, co się w Bytomiu dzieje. Nie jest to, broń Boże, zła wola, lecz osobliwsza taktyka, na którą wszakże nam trudno się godzić. Strach czy ostrożność do tych granic posunięta przestaje być przezornością, a raczej ośmiesza tylko ludzi i sprawy. Najdzielniejsi robotnicy w obwodzie przemysłowym przeszli do obozu socyalistycznego, ponieważ ich cuda św. sukienki w Trewirze jakoś mniej obchodzą, niż nasza niedola i rozpasanie wrogów. „Katolik“ o tem wiedzieć powinien, bo to się dzieje tuż obok niego, a jeżeli tak dłużej potrwa, to jeszcze niejeden z „Gazety Robotniczej“ się prędzej dowie o pierwszym banku polskim na Szląsku, niż z bytomskiego „Katolika“.

Chm.

KRONIKA BERLINSKA.

Berlin, d. 26 czerwca.

(Polityczne święto pokoju. — Tołstoj w literaturze niemieckiej. — Niedyskrecya pani Sewron. — Proces w Akwizgranie.

Kanał cesarza Wilhelma zdradza już pewne niedokładności w wykonaniu. Na poświęcenie jego wydano sumy, pokazano przytem cały przepych dworski i cały zbytek, na jaki stać było miasto Hamburg. Teraz oblicza się koszta, co w połączeniu z wyżej wspomnianemi brakami oraz niedwuznacznem zamanifestowaniem francuzko-rosyjskiej przyjaźni obniża nieco niemieckie poczucie dumy. Niemcy zawsze uchodzące za państwo militarne raz przecież urządziły międzynarodowe święto pokoju. Odbyło się ono wprawdzie przy dźwięku wojskowych kapeli i w obec nieustającej parady różnego rodzaju mundurów wojskowych, zawsze jednak Niemcy mają poczucie, że spełnili czyn kulturny w wysokim stylu.

To też nastrój przez owe dni świąteczne nawet w Berlinie był bardzo uroczysty, ci co zostawali, zazdrościli tym, co mogli jechać i głowy podnosiły się coraz wyżej. Teraz przecież poczyna sie obliczanie, czy po za strategicznemi korzyściami, które w razie wojny kanał niewątpliwie przyniesie, będą jeszcze inne dla handlu i przemysłu. Bo oto powstaje obawa, że zarząd kanału tak wielkie opłaty za przejazd naznaczy, iż dla okrętów kupieckich i pasażerskich będzie jedynie dawna droga dostępną. W przeciwnym razie, a więc, gdyby okręty obrać mogły drogę najkrótszą, przechodziłoby rocznie przez kanał koło 13 mil. ton, co w każdym razie jest bardzo imponującą cyfrą. Przecież to tylko nadzieja — pewnemi są jedynie korzyści wojskowe — a więc święto pokoju dla wojny, a zaproszone sąsiednie mocarstwa miały w pierwszym rzędzie przekonać się o ile germański sąsiad stał się *wehrfähiger*.

Wśród wstecznej fali, która oblicze dzisiejszego świata zwracać się zdaje ku chrześcijańskiemu Bogu i chrześcijańskiej moralności, zastrzegając się przecież zawsze, że istniejące kościoły zadowolnić jej nie mogą, coraz częściej ukazuje się w literaturze niemieckiej oblicze Tołstoja. Jest on dziś przynajmniej tak

popularną w Niemczech osobistością jak Ibsen, porównywując autorów piszących nie po niemiecku — a znanym być musi każdemu choć trochę po literacku wykształconemu czytelnikowi, czy czytelniczce. Przed kilku tygodniami ukazało się pismo, które jak się zdaje nie będzie wychodzić peryodycznie: „*Neues Leben*“, poświęcono kultowi męża z Jasnej Polany. Wydawca Karol Grunski (niewiadomo, czy Polak, choć nazwisko brzmi po polsku) ma dość zresztą nieokreślone dążenie, aby „światu dać coś nowego, czegoś go nauczyć, nietylko słowem, ale i czynem.“ Potrzeba mu więc żywego przykładu, któryby protestował przeciw kłamstwu, zepsuciu, gburowatości, samowoli.... i za takiego uznał Tołstoja. Fetysz przecież, bo w takiej roli pojmuje p. Grunski Tołstoja, w liście pisanym do redaktora wypowiedział się od razu, jako wróg publicystyki.

„Prasa już ukończyła swoją rolę, czyny są potrzebne i to nie tyle pozytywne, ile nie czynienie tego, czemu sami zaprzeczamy, unikanie wszelkiego kłamstwa w życiu.“ Zaleca on zbliżenie się do ludu, pobożność chrześciańską, a za wyznanie wiary podaje rodzaj panteizmu, który uważa życie nie za „chwilę przemijającą, lecz za ruch wieczny, którego doczesnym przejawem jest życiowa fala.“ Życie nasze powinno być ciągłym wzrostem miłości, która nigdy się nie kończy, ale tylko przez śmierć na chwilę przerwaną zostaje. — Artykuły o Tołstoju komentują jego naukę, obracając się wciąż koło postulatów prawdy w życiu i czynach, miłości, przebaczenia i pokoju.

Filozofia Tołstoja, o ile przystąpić do niej z trzeźwością i pewnym filozoficznym krytycyzmem, nie jest ani głęboką, ani nową, pomimo to właśnie w naszej przecywilizowanej epoce robić może wrażenie potężne, przecież pod warunkiem że uwierzymy w autora szczerość, zachowując przekonanie, że słowo popiera czynem. Tymczasem ukazuje się dziełko, które rozwiewa nieco tę fatamorganę sprawiedliwego i surowego mędrca, w którą Europa Zachodnia, a jak się zdaje i Rosya wierzyła dotąd niewzruszenie. Anna Sewron, która wiele lat przeżyła w domu Tołstoja, która należy do gorących jego zwolenników i wielbicieli, która powiada: „przyjdzie czas, gdy rzekną: tak ten był synem człowieczym nędzny i złamany, ale przecież pełen siły *boskiej*,“ rozwiewa przecież złudzenia*). Dziełko opowiada różne szczegóły o zajęciach i upodobaniach idylicznych Tołstoja, o czynnej pomocy, jaką niósł ludowi w głodowym roku, o niesłychanym uroku jaki jego brzydka, a nawet pospolita postać o kacapskim typie olbrzymią swoją siłą i prostotą wywiera na tłumy pielgrzymujące do Jasnej Polany. Autorka przecież ukryć nie może, że Tołstoj jest nie lubiony przez swych chłopskich sąsiadów. Jakkolwiek bowiem orze i grabi wraz z nimi, nie potrafi się często pozbyć wyniosłości szorstkiej i pańskiej dawnego posiadacza dusz chłopskich. Przy tem Tołstoj jest skąpy, nic nikomu nie da, a rad jest, skoro uda mu się drobnej nawet kwoty nie dopłacić.

Zdaje się, że hrabiowska rodzina grzeszy również chciwością. Gdy żonie wielkiego powieściopisarza zachciało się kiedyś zbierać kapitały z pism jego, urządziła prawdziwą licytacyą na coraz to nowe wydania, które rozchodziły się wprost z majątku. Takie kupczenie jego umysłowemi bogactwy nie mogło być przyjemnem autorowi „Pokoju i wojny,“ a przy tem przeciwnem było całej jego moralności, jednakże zamykał na nie uszy i oczy, wynosił się z domu, a na usprawiedliwienie twierdził, że kapłan nie może wykonywać wszystkich pięknych maksym, które głosi z kazalnicy. Podobnie rzecz się ma z jego wegetaryanizmem; tylko rok jeden był Tołstoj jaroszem, a i wtedy w nocy brzęczały kieliszki i rostbeef znikał z półmiska, nie inaczej ma być i ze stosunkiem do kobiet powiada autorka, wyznając, że i ona kochała się w Tołstoju pomimo jego brzydoty.

Te i wiele innych ploteczek p. Sewron są tylko dowodem, że nie ma słońca bez plamy i że lepiej plam tych nie szukać dla nas samych, dla naszego idealizmu, którego odrobinka tak w każdem życiu potrzebna.

Nie mniejszy cios owemu idealizmowi zadał rezultat procesu Mellage w Akwizgranie przeciwko mnichom klasztoru Mariaberg, który niewątpliwie znanym jest czytelnikom naszym z gazet codziennych. Wobec brutalnego i przykrego faktu znęcania się braciszków zakonnych nad chorymi i bezbronnymi, powstają dwa zagadnienia, które cała niemiecka prasa porusza, a mianowicie, jak wytłomaczyć psychologicznie, że właśnie pod hasłem chrześcianizmu, który zawsze stawał dotąd po stronie nieszczęśliwych, działy się takie nadużycia, będące policzkiem dla dzisiejszej naszej kultury, oraz jak zorganizować zakłady dla obłąkanych, aby uchronić ich od znęcania się dozórców i zwierzchności zakładu.

Przyczyna nadużyć tkwi, zdaje się, głębiej, niż w brutalności mnichów i ich zepsuciu, jest ona raczej wynikiem owych scholastyczno-średniowiecznych pojęć, które obłęd uważały za sprawę złego ducha i starały się go wypędzić, a cierpienie za dopust Boży, przeciw któremu walczyć nie należy, bo i tak sprawiedliwość na tamtym dopiero wykonaną będzie świecie. Takie były poglądy owych zakonów świeckich Begardów i Reginek, które od XIII w. obejmowały coraz więcej obowiązków i w zakonnym zastnieniu swych pojęć aż dotąd przechowały dawne poglądy. Faktem jest, że oświeceni dyrektorowie zakładów dla obłąkanych, lekarze przychodzą do wniosku, iż dozorczyniami nie powinny być katolickie, ani protestanckie siostry miłosierdzia, ale raczej dziewczęta świeckie, posiadające średnie wykształcenie. Jeżeli wbrew teoryom o władzy złego ducha Kościół okazywał się tylokrotnie opiekunem chorych i obłąkanych, to tylko dowód, że dobre serce ludzkie silniej od przesądów przemawia.

Wobec tego, że Niemcy, gdzie państwo tyle już dziedzin życia kulturnego zagarnęło pod swoją władzę, nie posiadają dotąd zorganizowanej rządowej inspekcyi nad zakładami dla obłąkanych, urządzono ankietę, co robić na przyszłość? P. H. R. Fischer z Moguncyi zwrócił się do najwybitniejszych w Europie środkowej psychiatrów jak Forel z Zurychu, dr. Benedict z Wiednia, Bleuler z Rheinau, zapytując, jak zorganizować zakłady. Wszyscy jednogłośnie niemal oświadczyli się za państwowym nadzorem, za koniecznością, aby tylko lekarzom wolno było otwierać zakłady dla obłąkanych, aby na czele zakładu oprócz naczelnego lekarza, stała jeszcze rada lekarska. Zdanie to potwierdził sędziwy prawnik Rudolf Gneist, a wobec 45 tysięcy chorych, jacy w zakładach podobnych się znajdują, sprawa to pierwszorzędnej wagi.

S. Z. D.

NA WYŁOMIE.

(Powódź na wystawie. — Kto winien? — Wybryk dziennikarski. — Próba bojkotu. — Jubileusz księdza kardynała Ledóchowskiego).

Gdy w poniedziałek otwarły się śluzy niebieskie i zwilżyły umierającą z pragnienia ziemię, widziałem rolników spoglądających w rozpłakane niebo okiem tak promieniejącem, że chyba chłopiec młody, biorący pierwszy pocałunek z ust swojej kochanki, tak patrzy i tak się uśmiecha. A potem w winiarniach słyszałem huk korków szampańskich i kości moje trzeszczały w objęciach upojonych radością ziemian, którzy przebaczyli mi nawet artykuł o „Banku Ziemskim“ i apoteozę idei demokratycznej i gorzką krytykę Wielkopolanek. Bądź błogosławiony, o! Jupiter Pluvius!

Błogosławiony? Z placu wystawy leci krzyk piekielny. W hali przemysłowej zamęt nieopisany, polskie i niemieckie klątwy walczą z sobą o lepsze, a skarg i lamentów rozbrzmiewa tam tyle, że cały budynek jest jak elegia zaklęta w kształty architektoniczne. Na razie nic nie rozumiem, — lecz nagle czuję, że strumienie wody cieką mi za kołnierz, w butach robi się wilgotno i jakieś chlupotanie rozlega się złowrogo. Cóż to? Czy dach zarwany? czy jakieś źródło ukryte z pod ziemi wytrysło? Bynajmniej, — ale dowcipni Niemcy zamiast dachu i ścian zbudowali rzeszoto i na wzór zeszłorocznego widowiska „Cyrk pod wodą“, uraczyli nas wspanialszą jeszcze p i è c e d e r é s i s t a n c e: „Wystawa pod wodą“. Zachwycający widok! Opodal jeden z przemysłowców ustawił pupę woskową z długiemi wąsami, ubraną w myśliwski garnitur, a malowany ten Nemrod zapłakał nagle różowemi łzami, wąsy obwisły chudzinie i wyglądał cały jak zmoczony indyk. Dalej znów wdzięczyły się do mnie pływające kanapy, zatopiona bielizna, mokre gobeliny, musujące mydełka i woda, woda bez końca. A biedne ofiary powodzi wśród zgrzytów i sarkań ratowały swój dobytek z nieproszonej kąpieli. Zasłaniano bilardy, budowano prowizoryczne parasole, szalami i surdutami ratowano stoły z kwiatami, bielizną i błyszczącemi wyrobami z stali. Ale w potopie zaginęło wiele i z mokrej wystawy wybiega pytanie: Kto zwróci szkody? Kto winien wilgotnej niespodziance?

Może p. Grüder, udekorowany orderem za urządzenie wystawy, raczy nam udzielić rycerskiej odpowiedzi, jak na rycerza czarnego czy czerwonego orła przystało. Wprawdzie statuty opiewają, że za szkody powstałe na placu wystawy Komitet żadnej nie przyjmuje odpowiedzialności, ale sami kupcy i przemysłowcy nie mogli przecież kontrolować spoistości dachu i ścian i zaufali niemieckiej pedanteryi i miejskim powagom. Przypadkowe stłuczenie, złamanie, zbrudzenie przedmiotów, — za to istotnie Komitet odpowiadać nie może, ale któż mógł przypuszczać, że deszcz kilkugodzinny halę przemysłową w sadzawkę zamieni. Powiedziano wystawcom, że nad ich głowami jest dach nie rzeszoto, a tem samem popełniono mistyfikacyę, na której autorach ciąży może nie prawny, ale bądź co bądź moralny obowiązek odszkodowania pokrzywdzonych.

Kąpiel wystawowa zawiera jednak inną jeszcze naukę, ujawniając znowu niebezpieczeństwo submisyjnej metody, praktykowanej coraz częściej w zakresie budownictwa i dostaw różnorodnych. Zduszona do ostateczności cena powołuje do życia królestwo tandety, — zwycięzca submisyjny kurczy o tyle materyał i pracę, o ile submisya cenę mu skurczyła. Byle taniej! z tem hasłem wstępuje się na rusztowanie i buduje zamiast ścian i dachów przetaki. A kontrola? Uśmiecha się ironicznie sprytny spekulant...

Rozglądając się po dziennikach poznańskich gotów jestem przypuścić, że na drodze takiej submisyi powołano do życia obecną redakcyę „Kuryera“. Przepraszam czytelników najmocniej, że raz jeszcze rozprawić się muszę z tym wykrzyknikiem w dziejach dziennikarstwa. Stał się jednak fakt niezwykły. Po krzykliwych szturmach przypuszczanych do redaktorów „Przeglądu“, po kalumniach, najbrutalniejszych napaściach i oszczerstwach wymierzonych przeciw kierownikom pisma naszego, przyszła kolej na abonentów. Bo oto jednem pociągnięciem pióra odsądził organ duchowieństwa wszystkich prenumeratorów naszych od „u c z c i w o ś c i“, — „nieuczciwemi“ nazwał domy wielkopolskie, w których pojawia się „Przegląd Poznański“. Nie pokuszę się o scharakteryzowanie tej chrześciańskiej etyki, — nie pokuszę się o rzucenie w imieniu abonentów naszych takiego słowa napastnikowi, którebym zapożyczyć musiał chyba z zoologii, — ale apeluję do wszystkich ludzi honoru, apeluję do tych dygnitarzy kościelnych, którzy zasiadają w Kuryerowej radzie nadzorczej, i pytam, czy nie ma środka, aby rozpasanej redakcyi założono hamulce, — czy społeczeństwo dłużej cierpieć będzie spokojnie, gdy z tej redaktorskiej ambony padają słowa odsądzające bez zachłyśnięcia od uczciwości setki ludzi, których jedyną winą jest odmienne przekonanie w zakresie polityki lub filozofii. Są osoby, które dla człowieka honoru nie istnieją i od których niczego się nie wymaga. Takiem

*) Anna Sewron. — Graf Leo Tolstoj. Intimes aus seinem Leben. Berlin. — 1895 r.

jest stanowisko nasze wobec autora skandalicznego artykułu, — ale mamyż uwierzyć, że patroni „Kuryera" solidaryzują się z taktyką panów redaktorów. Nie! cenimy ich nadto jako ludzi, by myśli podobnej nie wykluczyć z zakresu kombinacyi naszych.

Być może, że przeciwnikom naszym wydawało się korzystnem na progu nowego kwartału i nowej przedpłaty zapoczątkować bojkot ulubiony, ale któż dzisiaj ulęknie się klątwy tych „niepokalanych", dla których czystem jest to jedynie. co schlebia ich koteryjnym zakusom. Niegdyś te gromy siały lęk w około, ale dziś, gdy maska świętości Kuryerowej nie łudzi nikogo, gdy między „Przeglądem" a czytelnikami jego snują się nici coraz serdeczniejszej sympatyi, gdy z abonentów naszych wyrastają stalowi szermierze, dziś bojkot staje się dla nas gromką pobudką i żelaznym łańcuchem łączącym ramie do ramienia. To też w przyszłość spoglądamy spokojnie, a lubo słyszymy hasła ostracyzmu, brząkające jakiemś inkwizycyjnem „l o i d e s u s p e c t s" wstępujemy w nowy kwartał istnienia niezłamani i niezachwiani w programie naszym.

Widzę, że uderzyłem w bardon patetyczności ale w obozie żołnierskim trudno być zawsze na zawołanie miłym c a u s e u r e m. Dziś iskier humoru i fajerwerkowej gawędki wykrzesać nie umiem, — więc przyrzekając na przyszłość poprawę, kończę mój dzisiejszy felieton nazwiskiem „Ledóchowski". Coś mi się marzy, że aureola męczeństwa, opromieniająca kapłana patryotę, w przededniu złotego jubileuszu nie nęci nas już i nie porywa jak niegdyś. Pojawiają się wprawdzie gdzieniegdzie energiczne głosy, wzywające społeczeństwo do hołdu i nikt nie ma odwagi zgrzytnąć tam protestem, ale mimo to tak jakoś dziwnie cicho, tak ludzie mówią półgłosem, jakby koścista ręka lojalizmu gardła im zdusiła. Czyżby jubileusz męczennika-patryoty nie mógł się zmieścić w ciasne ramy nowoczesnych haseł i programów? A może ja się mylę?! V e d e r e m o.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Z d a n i a P i o t r a C h m i e l o w s k i e g o o p u b l i c y s t y c e p o z n a ń s k i e j.

Piotr Chmielowski poświęca w trzeciem wydaniu cennego „Zarysu najnowszej literatury polskiej" (Petersburg 1895 r.) następującą wzmiankę pismu naszemu:

„„P r z e g l ą d P o z n a ń s k i" zaczął wychodzić od 1 kwietnia r. 1894 pod redakcyą Władysława Rabskiego, autora „Ascety" i studyum nad Opalińskim. Redagowany jest śmiało w duchu postępowo-demokratycznym. Odznacza się wielkiem ożywieniem".

O „D z i e n n i k u P o z n a ń s k i m" tak się wyraża znakomity historyk literatury:

„„Dziennik Poznański" jedyne czasopismo w Księstwie istniejące bez przerwy od r. 1859, odwracał bądź co bądź umysły od zagadnień naukowej natury, kierując je w stronę polityczną".

Mówiąc o prądach reakcyjnych, które około r. 1880 nurtować zaczęły społeczeństwo, taką Piotr Chmielowski wypowiada opinię:

„Obrona dążności postępowych nie zmniejszyła się ani osłabła w tym czasie silniejszego nacisku reakcyi. W objawach swoich spokojniejsza, mniej namiętna, tem silniej lubo powolniej oddziaływa na społeczeństwo. Tylko w W. Ks. Poznańskiem, w Prusach Zachodnich oraz na kresach naszej narodowości: na Szląsku pruskim i austryackim, umysły zaprzątnięte silnie kwestyą ochronięcia bytu odrębnego od chcących pochłonąć tę odrębność żywiołów, nie mają czasu i możności wdawania się w spory naukowo-społeczne; we wszystkich innych dzielnicach trwają one bez przerwy".

W innem zaś miejscu mówi o W. Ks. Poznańskiem:

„Katolicyzm będąc tu w bezpośredniem zetknięciu z protestantyzmem, z konieczności położenia musiał się mieć na baczności i z większą energią występować niż gdzieindziej. Nie należy zapominać, że w Poznańskiem powstało pierwsze pismo z tendencyą ultramontańską, rozpatrujące wszystkie objawy życia społecznego z tego przeważnie punktu widzenia. Naturalną tedy było rzeczą, że dostęp pojęć krytykujących wszelką powagę, a między innemi kościelną, był w Poznańskiem nader utrudnionym, pomimo, że inteligencya miejscowa miała zawsze pretensyę do reprezentowania najświeższego stanu nauki".

* * *

Wobec skandalicznego procesu klasztoru Aleksyanów w Mariabergu bardzo na czasie jest przekład powieści A m a l i i S k r a m pod tytułem „Profesor Hieronim".

Autorka ta jest pono największą naturalistką Północy skandynawskiej. Treść przełożonej obecnie na język niemiecki powieści, jest następująca: Eliza Kaut jest malarką, której usilna praca, szukanie prawdy i ideału stargały nerwy doszczętnie. Cierpi na bezsenność, prześladują ją halucynacye. Mąż za zgodą lekarza domowego oddaje ją do zakładu profesora Hieronima. Tu rozpoczynają się dopiero męki duszy kobiecej. Codzienne stosunki z chorymi, ich wrzawa, wrażenie, jakie pozostawiają na niej samobójczynie i umierające, doprowadzają ją do rozpaczy. Przedewszystkiem jednak Hieronim sam ją dręczy. Fizyeznie jest jej wstrętnym. Jego zimna, sucha, wyjałowiona z uczuć natura nie jest w stanie zrozumieć „ciepłego, miękkiego, tęskniącego serca kobiecego". Spływa tylko na krótką chwilę „w obłoku swego majestatu" na chorych, a jest bardzo złym jeśli nie napotka u nich uprzejmości, powolności, prawie że skruchy. Posługaczki i dozorczynie mówią jej wciąż, że musi pozyskać sobie względy profesora, a wtedy dobrze jej się dziać będzie. To znaczy, że ona ma oddziaływać na lekarza, nie on na nią. Pociesza się wciąż myślą, że zobaczy męża, usłyszy głos dziecka — profesor jednak zamknął ją szczelnie od świata. Po 25 dniach opuszcza szpital po to atoli, aby zamienić jego rozkosze na inne w innym szpitalu św. Grzegorza. Pisze wtedy list do Hieronima, w którym mu zapowiada, że z chwilą, kiedy zostanie wolną, oskarży go przed światem. Na tem kończy się powieść. Opinia publiczna niemiecka żyła takim aktem przez ubiegłych dni kilkanaście, drżała oburzeniem istotnem, a to nie z powodu opowieści tragicznych, utkanych z przędzy fantastycznej literata, ale z powodu rzeczywistych faktów, odsłoniętych w broszurze p. Mellage i spowodowanym przez nią procesie.

* * *

Dziwne przygody zdarzają się niektórym naszym pismom ilustrowanym. Kupują one sobie dla wygody i taniości pewną ilość starych klisz i obdarzają niemi niewybrednych prenumeratorów, a ponieważ nie zawsze po drugiej stronie kliszy znajduje się odpowiedni napis, a kliszy szkoda, przeto podpisuje się pod nią, co na myśl przyjdzie i — bądź kontent prenumeratorze, że masz stary obrazek pod nowym tytułem. W ten sposób widzieliśmy niedawno katedrę florencką z podpisem katedra medyolańska, a w pewnej broszurze śp. arcybiskup Feliński został cudownie zamieniony na arcybiskupa Fijałkowskiego. Figlarze są ci wydawcy.

Oto znów świeżo w jednem z mniejszych pism ilustrowanych spotkaliśmy rysunek Jankowskiego z podpisem „Na letniem mieszkaniu". Rysunek przedstawiał przystojnego chłopaka, trzymającego za rękę mniej przystojną dziewczynę. Nic w tym rysunku nie mówiło o żadnem „letniem mieszkaniu", nawet na umieszczonym obok stole nie było ani rzodkiewki, ani nic, coby lato przypominało. Ale na talerzu leżały... opłatki. I owa mniej przystojna dziewczyna w drugiej wolnej ręce również trzymała opłatek, a stół był przygotowany do wieczerzy wigilijnej. I ktoby powiedział, proszę państwa, że na letniem mieszkaniu ludzie łamią się opłatkiem i spożywają wieczerzę wigilijną? Inne widać zwyczaje są na wsi, a inne w mieście.

To mało, ale rysunek ten natchnął jakiegoś poetę, który dorobił do niego wiersz nie tyle ładny, ile nie mający nic wspólnego z treścią ryciny.

* * *

C h y b a n i e T a r n o w s k i! Ktoś kupił sobie Szkice i rozprawy Macaulaya w tłomaczeniu Stanisława Tarnowskiego (Kraków, 1893) i znalazł w przekładzie następujące kwiatki stylu i gramatyki:

„W morderstwach r o z k o s z o w a ł jak w Bacchanaliach."

„Barrère zupełnie jak Chloe b y ł niewierny i b y ł dla każdego, ale b y ł znowu jak Chloe s t a ł y, j a k d ł u g o p o s i a d a n y."

„A sam rzeczywisty sprawca w zupełnem bezpieczeństwie u ż y w a ł z r o z k o s z ą n a s t r a c h u i udręczeniu Robespierre'a."

„Nie wiem doprawdy, czy udało się kiedy ludzkiej istocie natłoczyć tyle złego w p r z e s t r z e ń t r z y s t u s z e ś ć d z i e s i ą t (?) p i ę c i u d n i."

I tak dalej.

Ów ktoś, przytoczywszy długą litanię podobnych dziwolągów, kładzie nad nimi w „Kuryerze warszawskim" tytuł: „Chyba nie Tarnowski..."

A to właśnie Tarnowski!

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** W sejmie włoskim przyszło do skandalicznej bójki między stronnictwem ministeryalnem a posłami lewicy. Kilku deputowanych wyprowadzono rannych ze sali. — Królowa angielska udzieliła gabinetowi Rosebery'ego żądanej dymisyi i poruczyła Salisbury'emu utworzenie nowego ministerstwa. Wydział prowincyonalny nadreński postanowił wziąć zakład Aleksyanów Mariaberg w dzierżawę i zamienić na prowincyonalny zakład leczniczy. — Rektor uniwersytetu wrocławskiego pozwolił w porozumieniu z senatem na przypuszczenie kobiet do studyów uniwersyteckich w charakterze hospitantek. — Okazuje się, że świeżo otwarty kanał cesarza Wilhelma nie wystarcza, mimo swej głębokości, dla wielkich okrętów. Postanowiono koryto pogłębić.

* **Teatr i muzyka**. Artystka teatru poznańskiego, p. Helena Zimajer, zaangażowana chwilowo do łódzkiego teatru, zjednała sobie gorące uznanie tamtejszej krytyki i publiczności. — Stanisław hr. Rzewuski, autor dramatyczny, przebywający stale w Paryżu, wykończył nowy dramat p. t. „La Legende du Masque", który wystawić zamierza w paryskim teatrze Porte Saint-Martin. Ostatni utwór francuski tegoż pisarza „Tyberyusz na Capri" cieszył się w zeszłym roku w stolicy francuskiej wielkiem powodzeniem. — Warszawski teatrzyk Bellevue nabył nową sztukę K. Zalewskiego p. t. „Cyganerya". Jest to podobno przeróbka z Murgera (?). — Aleksander Dumas po długoletniem wahaniu się oddał swą sztukę „Route de Thèbes" do wystawienia w Komedyi francuskiej. — Warszawski „Teatr letni" wystawi niebawem sztukę Richepina p. t. „Lep" (La glue). W utworze tym wystąpi gościnnie p. Gabryela Zapolska. — Sembrich-Kochańska udała się na występy do Londynu. — Helenę Modrzejewską przyjmuje entuzyastycznie publiczność lwowska. Teatr nieomal zawsze jest wykupiony.

Zmarli:

* **Zofia Łasińska**, autorka tomiku nowel p. t. „Komary", i kilku powiastek w języku niemieckim — zm. w Poznaniu 17 czerwca.

* **Ryszard Genee**, kompozytor i librecista operetkowy — zm. w Wiedniu 10 b. m.

* **Arystydes Venreuil**, znakomity chirurg francuski — zm. 13 b. m. w Paryżu.

BIBLIOGRAFIA.

Sewer. Na szerokim świecie. Powieść. Kraków, 1895.

Gabryela Zapolska. Janka. Powieść. Warszawa, 1895. Tom I i II.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. K. Nadesłanego dramoletu zamieścić nie możemy dla braku warunków literackich.

Ahasver. „Fata Morgana" nie nadaje się do druku. Wiele tam sztucznej afektacyi ale mało poezyi. Może w dziedzinie powieściowej będzie pan szczęśliwszym.

Abonentowi. Za nadesłany wycinek dziękujemy. „Kuryer" jak zwykle mija się z prawdą, bo ustęp wiadomego artykułu jest cytatem z książki Haushofera, podanym przez nas bez żadnych komentarzy. Twierdzenie zatem, że „uwagi cytującego zgadzają się z cytowanym" jest pospolitym fałszem. Ale niech to pana nie dziwi. U tych ludzi ciasnota pojęć i brak humanitarnego na świat poglądu walczy zawsze o lepsze z kłamstwem.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 27. Poznań, Niedziela 7. lipca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Z przyczyn niezależnych od redakcyi dokończenie artykułów pt. „Z najnowszych dziejów Szląska" ukaże się dopiero w następnym numerze.

Przesilenie ekonomiczne w rolnictwie i wniosek hr. Kanitza.

II.

Wniosek Kanitza nie jest według słów wnioskodawców ostatnim środkiem, ale środkiem radykalnym, warto więc nad nim się zastanowić, bez względu na to, czy są dlań widoki urzeczywistnienia. Jednakże zanim go rozpatrzymy, warto zatrzymać się na innych środkach, polecanych dotąd jako zbawcze.

Najpierw mamy tu krzykliwą agitacyę bimetalistów. Twierdzą oni, że przyczyną klęski rolników europejskich jest dewalwacya srebra. Rzecz ma się tak: W początku, a nawet jeszcze w połowie wieku bieżącego stosunek wartości złota do srebra był 15 i pół : 1, to jest za 1 funt złota płacono 15 i pół funtów srebra. Dziś stosunek ten przedstawia się jak 32 : 1, to jest za 1 funt złota trzeba dać 32 funtów srebra. Otóż w krajach, gdzie system monetarny opiera się na srebrze, płaci się koszta produkcyi w tym metalu, a wywożąc produkt do kraju, gdzie pieniądzem jest złoto, pobiera się cenę w złocie. Zyskuje się więc całą zwyżkę wartości złota. N. p. ktoś przywozi pszenicę z Indyi do Europy, tu otrzymuje za quarter w Londynie — przypuśćmy — 15 szylingów w złocie. Złoto sprzedaje i kupuje srebro. Przy dawnym stosunku złota do srebra otrzymałby 7 i pół rupii indyjskich, dziś otrzymuje 10 do 12, przypuśćmy, może więc produkować za 15 szylingów, gdy farmer angielski nie może. Otóż twierdzą bimetaliści: podnieśmy cenę srebra, a pozbędziemy się tej konkurencyi. Podnieść zaś cenę srebra można tylko przez to, że mennice będą przyjmowały srebro po cenie ustanowionej, n. p. 20 funtów srebra za funt złota. Rozumowanie jest słuszne, tylko że tego stosunku ustanowić nie można. Cena srebra bowiem spadła nie dla tego, że zostało ono wycofane z obiegu monetarnego, przedstawiając już tylko monetę zdawkową, t. j. monetę, w istocie nie reprezentującą nominalnej wartości i dla tego nie obowiązkowo przyjmowaną przy większych wypłatach, lub „coruantową", (jak pięciofrankówki związku monetarnego łacińskiego i talary niemieckie), która ma obieg przymusowy wewnątrz kraju według wartości nominalnej, jakkolwiek rzeczywista wartość równa się dziś zaledwie połowie nominalnej (2,50 franków i 1,45 marek), nie ma zaś obiegu poza krajem, lecz dla tego, że koszta produkcyi srebra zmniejszyły się, a produkcya wzrosła do niebywałych rozmiarów. Ta obfitość srebra na rynku jest skutkiem wydajności nadzwyczajnej min amerykańskich, które zdaniem profesora Lexis, „praktycznie biorąc, są niewyczerpalne". I tu więc hojność przyrody jest nieszczęściem dla starej Europy. Gdyby więc dziś chciano ustanowić system monetarny bimetaliczny, skutek byłby ten, że rynkowa wartość srebra w złocie zmieniałaby się z dnia na dzień, mennica zaś byłaby zmuszoną przyjmować srebro w cenie ustanowionej, zacząłby się zatem spekulacya, polegająca na tem, że srebro napływałoby do mennicy i jego posiadacze zyskiwaliby całą różnicę pomiędzy ceną rynkową a ceną menniczą. To samo uniemożliwia już system bimetalizmu i z tych właśnie powodów Francya porzuciła przed laty ten system. Zresztą wprowadzenie bimetalizmu wymaga międzynarodowego porozumienia, a do takiego, teraz przynajmniej, nie dojdzie, gdyż wchodzą tu w grę interesa żywotne poszczególnych państw. Amerykanie n. p. chętnie zgodziliby się na bimetalizm, bo produkowane przez nich srebro wzrośnie w cenie, ale właśnie dla tego nie zgodzi się na to Anglia, gdyż wtedy rynek metalowy przeniósłby się z Londynu do Ameryki, a tem samem supremacya handlowa Anglii byłaby narażona na szwank. Pomimo więc zwycięstwa, odniesionego przez bimetalistów w sejmie pruskim (gdzie przyjęto niedawno wniosek o zwołanie międzynarodowego kongresu celem wprowadzenia bimetalizmu) sądzimy, że porozumienie takie do skutku nie dojdzie i kongres, gdyby nawet zdołano go zwołać, rozejdzie się z niczem, jak to się stało już z trzema poprzedniemi, zwoływanemi w tej kwestyi. Gdyby nawet zresztą projekt bimetalistów został urzeczywistniony, to przez to jeszcze nie zmniejszy się ilość produkowanej pszenicy ani o jeden korzec, zmniejszą się tylko nieco zyski farmerów pozaeuropejskich i wzrosną być może cokolwiek ceny. O takiej podwyżce, o jakiej marzy hrabia Kanitz, mowy nawet być nie może.

Inni znów widzą przyczynę nieszczęścia rolników niemieckich w braku kapitału. Twierdzenie to nie jest pozbawione słuszności, lecz zapobiedz temu brakowi niełatwo. Po większej części brak kapitału u wielkich posiadaczy pochodzi ztąd, że cena, po jakiej zostały nabyte majątki przez obecnych właścicieli, była ogólnie zbyt wysoką. Ceny, płacone za ziemię przed 20 i 30 laty, były, jak zawsze, oparte na ówczesnej rencie, renta zaś ta była wysoka wobec wysokich cen zboża. Ceny spadły, renta obniżyła się i majątki okazały sie obdłużone po nad dzisiejszą ich wartość, nie przedstawiają więc dziś gwarancyi dla kredytu hipotecznego, który jest podwaliną kredytu rolniczego wogóle. Stąd aż nadto zrozumiała niechęć do lokowania kapitałów w ziemi. Wołają więc agrarczycy o pomoc państwową, co jest bardzo zrozumiałe, kwestya tylko, skąd państwo weźmie potrzebne na to setki milionów? Z pożyczki państwowej lub podatków? Odsetki pożyczki trzeba zapłacić w każdym razie, jak również niedobory, powstające wskutek niewypłacalności dłużników. Pozostają tedy podatki, czyli wszystkie tego rodzaju projekty dążą do tego, aby naród cały ponosił ciężary dla uratowania garstki uprzywilejowanych. Z wszystkich projektów tego rodzaju streszczamy tu projekt podany przez profesora Schmollera (w rozprawie krytykującej projekt hr. Kanitza, umieszczonej w „Jahrbuch für Gesetzgebung, Verwaltung und Volkswirtschaft, rocznik XIX, zeszyt II). Uczony ten dochodzi do takiego wniosku: istnieje ekonomiczny stan klęski (Notstand) w rolnictwie. Zapobiedz może tylko pożyczka (Notstandsdarlehn). Plan swój szkicuje Schmoller tak: „Państwo zakupuje majątki ziemskie tych posiadaczy, których byt jest zagrożony, i obsadza je ponownie właścicielami lub dzierżawcami przy takich warunkach prawnych, jakie odpowiadają interesom ogółu i przy jakich ci właściciele lub dzierżawcy mogą prosperować ekonomicznie. To, co dokłada w ten sposób państwo, jest ofiarą, którą ogół poniesć może i powinien i która w przyszłości hojnie się opłaci". Tym zaś właścicielom, których można ratować pożyczką, należy udzielić takowej w warunkach dogodnych. Środki te ma stosować nie cesarstwo, lecz państwa rzeszy. Sumę niezbędną w tym celu przyjmuje Schmoller na 1000 milionów marek, z których 200 milionów zostanie użyte na pożyczki, 800 milionów na zakupy. Odsetki od tej sumy wyniosą, licząc po 3 proc., 30 milionów marek i zaważą w budżecie stopniowo, w miarę jak pieniądze staną się potrzebne; dodawszy jeden proc. na amortyzacyę, otrzymamy 40 milionów marek. Schmoller sądzi, że już przez samo postanowienie odnośnego prawa anormalna zniżka cen ziemi

zostanie wstrzymana, jak również wierzyciele hipoteczni, spokojni o przyszłość, przestaną wycofywać sumy hipoteczne. Wygórowanej podwyżce cen zapobiedz można przez umiejętne normowanie zakupów. Za 800 milionów marek, jak sądzi Schmoller, można zakupić milion hektarów (po cenie 800 marek, jaką przyjmuje hr. Kanitz w swoich obliczeniach), to jest jedna trzydziesta piąta część Prus. W ten sposób, powiada uczony, można uratować rolnictwo. A jako prawowity Prusak dodaje, że to zapobiegnie „der Slavisirung des deutschen Ostens“.

Więc 40 milionów marek zapłaci ogół, t. j. o taką sumę wzrośnie ciężar podatkowy w Niemczech. Skutki zaś są wątpliwe: 1) wobec większej pewności, jaką przedstawia państwo, wierzyciele hipoteczni, wbrew oczekiwaniu Schmollera, mogą wycofywać gwałtownie swoje sumy i w takim razie liczba właścicieli, których trzeba ratować, wzrośnie tak, że 1000 milionów nie starczy. 2) Wątpliwem jest, czy środek taki wstrzyma zniżkę cen ziemi, bo ta będzie zależała od ceny ziemiopłodów na rynku wszechświatowym, jeżeli zaś to nastąpi, kapitały ulokowane przez państwo w ziemi przepadną.

Inaczej przedstawia się projekt p. Gampa, który domaga się budowy, kosztem państwa, wielkich młynów we wschodniej części monarchii. Zakupywałyby one w tych prowincyach zboże, które pozostaje po pokryciu potrzeb lokalnych i sprzedawałyby zmeloną mąkę poza granicami państwa. Zboże ma być płacone producentom po cenie, na jaką pozwala sprzedaż produktów młyńskich, po potrąceniu kosztów mlenia i 3 proc. od kapitału zakładowego. Pan Gamp proponuje założenie tymczasowo 8—10 młynów, z których każdy mełby 15,000 ton zboża rocznie. Sądzi on, że wskutek oszczędności przy transporcie i wskutek wyzyskania wszystkich korzyści, jakie płyną z wielkiej produkcyi, młyny te będą w stanie płacić na tonie 15 marek więcej, aniżeli wynosi cena rynkowa, wskutek tego, jak sądzi wnioskodawca, podniesie się wogóle cena zboża w tych prowincyach. Ostatni wniosek jest zgoła fałszywy, bo cóż znaczą te 150,000 ton dla produkcyi niemieckiej, a nawet tylko dla produkcyi wschodnich prowincyi. W każdym razie musiałby upaść przemysł młynarski w tych okolicach, gdzie zakładanoby młyny państwowe. I młynarze prywatni mieliby zupełnie uzasadnione prawo, aby straty ich wynagrodzono przez zakupienie ich zakładów lub w inny sposób, a ta okoliczność znacznie podnosi koszta całej tej operacyi.

Na innych jeszcze zasadach opiera się wniosek pana Grass-Klanin, agitowany żywo w od roku 1891 w stowarzyszeniach rolniczych. Chodzi tu o zakładanie przy pomocy stowarzyszeń wielkich śpichlerzy, któreby lombardowały zboże. W ten sposób, twierdzi wnioskodawca, zapobiegnie się fatalnej dla rolnika, nie posiadającego kapitału zakładowego, konieczności sprzedawania zboża natychmiast po żniwach. Prócz tego zyski, jakie zgarnia kupiec zbożowy, wpłynęłyby do kieszeni rolników. Projekt ten bezsprzecznie posiada tę zaletę, że nie ucieka się do pomocy państwowej w wielkich rozmiarach (jakkolwiek w ciągu dyskusyi nad nim okazało się jednakże, że bez pomocy państwa zebrać kapitały potrzebne byłoby bardzo trudno). Natomiast urzeczywistnieniu jego staje na przeszkodzie fakt, że handel zbożowy więcej niż każdy inny stał się dziś przedmiotem dzikiej spekulacyi, do interesów zaś spekulacyjnych stowarzyszenia niekupieckie najmniej się nadają. Z tych też powodów jedyna próba w szerszym zakresie, podjęta w tym kierunku przez „Centralne stowarzyszenie rolnicze“ na Szląsku, zakończyła się krachem w roku przeszłym, i sprawozdawca Stowarzyszenia, hr. Zedlitz, przyznał, że przedsięwzięcie było błędem organizacyjnym.

Wspomnijmy jeszcze dążenia popierania rolnictwa przez protegowanie gorzelnictwa i cukrownictwa. Jest to sprawa tak zawiła, że wymagałaby specyalnego omówienia. Tu możemy ją pominąć, choćby dla tego, że sami agrarczycy uważają tę kwestyę za podrzędną w porównaniu z kwestyą ceny zboża. Zadokumentowali to ich przedstawiciele w sejmie pruskim podczas cytowanej mowy pana ministra rolnictwa, przerywając mu, kiedy mówił o cukrownictwie i gorzelnictwie, krzykami: „zboże, zboże“. W każdym razie nie zawadzi zaznaczyć, że owa opieka, jaką oddawna rząd niemiecki otacza gorzałkę i cukier, a którą powodowały w części względy fiskalne, po części zaś doniosłość tych gałęzi przemysłu wiejskiego dla intensywnego gospodarstwa rolnego, doprowadziła do wcale niepożądanych rezultatów. Przytoczę tu jeden tylko charakterystyczny przykład. Prawem z dnia 14 czerwca 1887 r. postanowiono unormować wyrób okowity dla krajowego rynku, to jest postanowiono, że każda gorzelnia ma prawo produkować tylko pewną ilość obliczaną według norm ustanowionych. Okazało się, że normy są dosyć wysokie, gorzelnie jednakże chcą je koniecznie zachować i produkują zawsze tyle, ile im dozwolono, chociażby to nie było korzystnem, obawiają się bowiem, że w razie przeciwnym kontyngens ich zostanie zniżonym. Otóż w roku n. p. przeszłym urodzaj ziemniaków nie był obfitym, ceny więc były względnie wysokie, można więc było zużyć lepiej ziemniaków, a pomimo to pędzono dalej okowitę nawet ze stratą, chociaż odbyt był utrudniony i ceny niskie. To samo można powiedzieć o przemyśle cukrowniczym, w którym premie wywozowe, wotowane na wyścigi w parlamencie niemieckim, stworzyły położenie sztuczne.

I. B. M.



Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego.

N o w e p i s m o. Od połowy lipca zacznie wychodzić w Berlinie popularne pismo miesięczne p. t. „Przewodnik zdrowia“, poświęcone sprawom hygieny, a mianowicie fizycznego wychowania dzieci. Wydawnictwa podjął się pan A. Czarnowski.

—

Według „D z i e n n i k a K u j a w s k i e g o“ zacznie znowu wychodzić w Inowrocławiu demokratyczne pismo „P o c h o d n i a“, którego wydawnictwo na pewien czas zawieszono.

—

„G a z e t a O l s z t y ń s k a“ powiększa od 1-go lipca począwszy swój format, lecz zatrzymuje ten sam abonament co dotychczas, t. j. 75 fen. na kwartał.

—

„N o w i n y R a c i b o r s k i e“ donoszą w nr. 79:

„W przeszłym tygodniu zjawiła się na czarnej tablicy w akademii wrocławskiej za pozwoleniem rektora odezwa odnosząca się do wszystkich akademików, w której wzywano do współudziału w utworzeniu związku HKT (dla szerzenia niemczyzny i wypierania polskości) pomiędzy młodzieżą akademicką. Ogólne zebranie było zapowiedziane na sobotę dnia 29 b. m. w salce siódmej. Z przeszło 1200 studentów zapisanych na tutejszym uniwersytecie stawiło się ledwie 50-ciu. Tajny radzca prof Feliks Dahn rozpoczął posiedzenie dosyć krótką mową, w której takiemi ogólnikami sypał, że nie warto ich tu powtarzać. Skończywszy swoją mowę, zabiera kapelusz i opuszcza salę. Następnie przewodniczący zebrania w kilku słowach rozwodzi się nad warunkami, które każdy do towarzystwa HKT należący wypełniać winien, i zapytuje się, kto sobie życzy zabrać głos.

Tu powstaje akademik Polak, prosi o głos i donosłym i dobitnym głosem czyta w imieniu wszystkich akademików polskiej narodowości, kształcących się na wszechnicy wrocławskiej, protest przeciw towarzystwu HKT. Była to chwila uroczysta; nikt nie ważył się jej przerwać; wśród ciszy grobowej rozlegał się tylko energiczny głos czytającego. Po odczytaniu protestu

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

— Tak, kocham cię, moja mała, — po chwili zaś dodał patetycznie: — jak prawdziwą słońca jasność, blaski gwiazd na niebie — tak szczerą i niezmienną miłość ma dla ciebie! Zadowolonaś teraz? — dodał z uśmiechem.

— Tak, ale czy rzeczywiście to czujesz? tak naprawdę? zawsze? — rzekła patrząc mu w oczy z niepokojem.

— Ależ tak, najdroższa! Jakże przekonać cię o tem mogę? słowa mówią tak mało; wszystkie zapewnienia miłości takie są romantyczne. Kocham cię więcej stokroć, niż to powiedzieć mogę...

Po chwili odezwała się znowu, opierając czoło swe w zawstydzeniu o jego ramię:

— Wiesz, Jerzy, o czem często myślę? Czuję dobrze, że nie dorosłam tobie, ani rozumem, ani wykształceniem i długo jeszcze potrwa, zanim ci dorównam. Musisz więc być cierpliwym, choć to nie tak prędko nastąpi. Wszak i ci, co idą powoli, do celu dochodzą. Gdybym mogła czegoś wielkiego dokonać, ach jakbym chciała! nie wiem, coby to takiego być mogło, nie mam pojęcia... chciałabym, żeby było czemś, czego nie wszyscy dokazaćby mogli... Najchętniej coś takiego, czego jeszcze dotąd nie było...

Spojrzenie jego przesunęło się po jej twarzy, błysnęło, zaśmiało się; chciał coś powiedzieć, lecz powstrzymał się, a całując ją z powagą w rękę, rzekł:

— Rozumiem cię dobrze. Któż nie pragnąłby w ogóle zdziałać coś na nędznym tym świecie...

— Ależ, nie o to mi chodzi — zawołała.

— A więc, co przez to rozumiesz?

— Nie zrozumiałeś mię zupełnie; jest mi całkiem obojętne, jak świat cały wygląda, cóż mnie to obchodzi? lecz — ciągnęła dalej, nie dając sobie przerwać — to tylko dla ciebie chciałabym czegoś wielkiego dokonać, żeby stać się ciebie godną, rozumiesz? Chcę, żebyś również mógł być ze mnie dumnym, byś kochał mnie stale i nie porzucił w połowie drogi... Czy wiesz, co myślę? Ja taka głupia, że nie mogę tak wszystkiego wypowiedzieć, co mam w myśli... Ale musisz mi przyrzec, że się nie znudzisz czekaniem. Zobaczysz, że cię nie zawiodę... czuję to...

— Jak wymowną nagle stała się moja mała, ktoby to przypuszczał! — rzekł Bergström, uścisnąwszy ją czule.

— Możesz być o to spokojną, moje dziecię, kto znalazł taką jak ty perłę, nie odda jej za żadne świata skarby! Czeka nas w życiu wiele chwil pięknych, wierz mi Engelko! Życie nasze będzie czułem, serdecznem pożyciem dwojga ludzi, którzy wspólnie wspierając się wzajemnie, dążyć będą do coraz wyższego udoskonalenia uczuć swych i myśli. Ja ciebie prowadzić będę, jak potrafię — ty zaś opanujesz mą fantazyę — i tak oddziaływając na się wzajem, po jednej drodze do wspólnego dążyć będziemy celu... wierz mi...

Tu przerwał. Słychać było szybkie kroki w przedpokoju. Engelke zerwała się z miejsca.

— To ojciec! — rzekła.

— I dla tego uciekasz?! — śmiał się Bergström, pociągając ją napowrót ku sobie, choć się lekko opierała. — Dzisiaj moglibyśmy trochę więcej z sobą pogawędzić, nieprawdaż? — rzekł, podnosząc zwolna jej twarz ku sobie. A cóż otrzymam teraz?

Zbliżyła powoli różowe swe usta do ust jego, oczy jej mgłą zaszły z niewysłowionej tkliwości, jaka ją opanowała, i tak spotkały się ich usta w długim cichym pocałunku. Wtem drzwi się otworzyły, jednocześnie ukazała się w nich mała postać Dr. Pauli.

— Siedzicie sobie i gruchacie — rzekł tonem obojętnym, przechodząc koło nich i zbli-

wręcza ów polski akademik przewodniczącemu protest podpisany przez 54 akademików Polaków i opuszcza salę zgromadzenia z dwoma swymi kolegami, którzy za delegatów byli wybrani Protest brzmi w przekładzie na język polski:

„Jesteśmy najzupełniej świadomi obowiązków, jakie w charakterze poddanych pruskiego państwa mamy, a staraniem naszem jak najusilniejszem jest, aby im zadosyćuczynić. Twierdzimy śmiało, że z współakademikami niemieckiej narodowości zawsze w spokoju i w zgodzie żyliśmy i nigdy nie daliśmy powodu do sporów i do niezgody. Ponieważ atoli związek, który ma być założony, nietylko pod względem politycznym, ale także ekonomicznym zamierza szkodzić żywiołowi polskiemu i może podkopać dotychczasowe zgodne stosunki studentów obu narodowości, którzy są skazani na wspólne pożycie, ponieważ dalej mamy przekonanie, że nauka stać winna ponad wszelkiemi prądami politycznemi doby i sporami narodowościowemi, — przeto uważamy za nasz obowiązek, aby w interesie zgodnego pożycia akademików obu narodowości i w interesie wolnego rozwoju nauki założyć protest przeciwko założeniu tegoż towarzystwa.

Następują podpisy".

—

Wychodząca w Berlinie „Gazeta Polska" (nr. 48) tak pisze p. t. „Przemysł polski a spółka KHT.":

„Co do popierania naszego przemysłu przez kupowanie tylko u swoich wypowiedzieliśmy już zdanie, że popieranie takie zależne przedewszystkiem od doskonałości przemysłu naszego, że zatem, chcąc w tych dziedzinach, gdzie dotąd niedość poparcia znajduje nasz przemysł u rodaków, wyjednać dlań to poparcie, należy się zająć wprzódy tą gałęzią przemysłu i pracować nad udoskonaleniem jej, a potem dopiero żądać można od Polaków bezwzględnego poparcia przemysłowców — rodaków.

Samo nawoływanie do popierania przemysłowców polskich nawet i w tych razach, gdy przemysłowcy ci niezdolni rodaków zadowolić, zdaje nam się wprost fałszywym patryotyzmem: należałoby raczej przemysłowca, który w swym zawodzie niedoskonały, skłonić — o ileby się to dało — do zajęcia się korzystniejszą dla niego i dla społeczeństwa pracą, albo dać mu możność douczenia się tego, czego mu niedostaje. Byłoby to zapewne patryotyczniejszem.

Przyzna nam zapewne każdy słuszność, kto zna stosunki po wielu małych miastach u nas — a któżby ich nie znał — kto wie, jak mało umieją nieraz kupcy Polacy współzawodniczyć z niemieckimi żydami, starającymi się publiczności dać wielki wybór towarów, uwzględniać — choćby to tylko czynili pozornie — najdrobniejsze życzenia odbiorców i t. d., podczas gdy kupcy Polacy nieraz po małych miastach niewielkim służąc doborem, nie umieją nadto większą od Niemców usłużnością zaskarbić sobie względów publiczności. Oczywiście, że nie jest już tak źle, jak było przed 20 albo 10 laty, ale dużo jeszcze w tym względzie trzeba nam naprawić, by dorównać Niemcom.

Że lud nasz kupuje jeszcze zbyt wiele od Niemców, to smutną rzeczą, ale poprawa stosunków zależy przedewszystkiem od usunięcia złego w przemyśle samym.

Podobnie, jak samem nawoływaniem nie zdołaliśmy wstrzymać ludzi od wychodźtwa za morze, i nie wstrzymamy, dopóki stosunki, które go wypędzają, nie zmienią się na lepsze, podobnie samem wołaniem: „kupujcie u swoich" nie napędzimy go do zaspakajania wszystkich swych potrzeb u rodaków, dopóki ci rodacy nie zdołają jego życzeń choć w przybliżeniu tak zadowolić, jak obcy".

Przegląd prasy słowiańskiej.

Tryesteński „Il Pensiero Slavo" pisze:

„Rzeczą wagi niemałej jest dla nas Słowian ruch antysłowiański, który pojawia się obecnie w Rosyi. Nasi czytelnicy wiedzą, że następstwem tej niewdzięczności (!), którą okazują Rosyi koła urzędowe w Sredcu i Białogrodzie, jest stanowisko niechętne, jakie część prasy rosyjskiej wogóle wobec Słowian zajmuje. Prąd ten jest wrogim wszelakiemu zbliżeniu się do Słowian, potępia on ideę solidarności słowiańskiej wobec Słowian zamieszkujących Rosyę tj. Polaków, jako też i wszystkich innych narodów słowiańskich. Że ruch ten nie jest usprawiedliwiony, że powstaje z nieporozumienia, które miesza pojęcie rządów bułgarskich i serbskich z narodem — jest dość jasne.

„W każdym atoli razie trzeba nam się z faktem liczyć, gdyż ruch ten istnieje, a profesor Łamański był w roku zeszłym jego tłomaczem, mówiąc na ten temat na posiedzeniu towarzystwa słowiańskiego dobroczynności. Atoli mowa p. Łamańskiego nie wszędzie wywarła wrażenie dobre w Rosyi samej, natomiast cała Słowiańszczyzna ją jednogłośnie potępiła. Przewodniczący towarzystwa Ignatyew, jak wiadomo, na posiedzeniu ostatniem, które się w kwietniu r. b. odbyło, wyraził ubolewanie, że w Słowiańszczyźnie, skutkiem owego wystąpienia, powstało mniemanie, jakoby Rosya przestała myśleć o Słowiańszczyźnie, że kwestya słowiańska znikła u Rosyan na zawsze z porządku dziennego.

„W tym samym duchu, co Ignatyew, przemawiał Komarow. Przemówienie tego ostatniego powtórzyły pisma czeskie i chorwackie. „Narodni Listy" wywody rosyjskiego publicysty tak zreasumowały: „„Komarow chce, ażeby ludy słowiańskie szukały punktu oparcia i solidarności moralnej w Rosyi, jedynym węzłem powinno być nieograniczone zaufanie Słowian do tego, co Rosya robi (?!).""

„Co do nas, to w kierunku tym pracujemy, ażeby zaufanie do słowiańskości Rosyi nie znikło. Idea solidarności słowiańskiej czyni acz zwolna, to przecież ciągłe postępy. Jako fakt nader pożądany notujemy, iż w Sredcu przyjmowano bardzo serdecznie towarzystwo śpiewackie serbskie, które z Białogrodu przybyło.

„Kwestya macedońska zbliża również ku sobie Słowian południowych. Wobec wroga wspólnego, jakim są Turcy, łączą się ze sobą Serbowie i Bułgarzy, kraj ten zamieszkujący.

„Wypadki, które zaszły w ostatnim czasie w Wiedniu, zdają się także przemawiać za tem, że pomiędzy Słowianami austryackimi nastąpi większe aniżeli dotychczas zbliżenie..."

* * *

Lwowski „Hałyczanin" umieścił artykuł rzekomego Wielkopolanina o stosunkach rusko-polskich. Pod nagłówkiem: „Hołos welykopoljanina" czytamy:

„Przyjmijcie ruscy bracia od brata lechitywielkopolanina wyraz miłości braterskiej, sympatyi i wzajemności słowiańskiej. Podzieleie się nim z waszymi czytelnikami i rodakami, gdyż dość już walk, sporów i nienawiści osłabiających i oddających nas pod jarzmo „„Drang nach Osten"", pangermanizmu, żydowszczyzny i egoizmu naszych przeciwników.

„Głosy galicyjsko-polskich dzienników o ruskiej narodowości Galicyi i polityka koła polskiego wobec Rusinów napełniają bólem każdego Słowianina, a tym większym Wielkopolanina, jęczącego pod jarzmem pangermanizmu. Zachowanie się galicyjsko-polskich polityków wobec tak zwanych Rusinów w Galicyi charakteryzuje się tem dosadniej, gdy uprzytomnimy sobie zachowanie się Niemców na naszej wystawie. Tu na własnej rodzinnej ziemi, w kolebce narodu polskiego doznał język polski poniżenia i pogwałcenia. Wszyscy to powinni odczuwać... Kto atoli temu winien? Nie naród polski, bo on nie bierze udziału w polityce „„kół polskich"" w Berlinie i w Wiedniu, które wydają Wielkopolan na łup Niemcom, stwarzają stosunki krzywdzące naród ruski w Galicyi i czynią wszystko, co zabija żywot narodowy i myśl słowiańską, robiąc je nieudolnemi do walki z niemczyzną.

„Nie polski naród temu winien, że gazety galicyjskie obwiniają „„Hałyczanina"", iż bierze ruble, że jest moskalofilem, denuncyując lud małoruski, który nie chce być ich narzędziem powolnym.

„Ta polityka, zarażona łacinizmem, od kilku stuleci niszczy Słowian zachodnich i oddaje ich na pastwę germańsko-romańskiej kulturze. „„Hałyczanin"" nie może popierać takiej polityki...

„Polscy politycy w Galicyi mówią o sobie, iż są rzymsko-katolickimi chrześcianami, ale nie okazują tego czynami, ignorując pierwszą zasadę: nie czyń drugiemu tego, co tobie niemiło. Tą zasadą nie kierują się ani wobec Rusinów, ani wobec chłopa polskiego. Taka polityka

---

żył się do fortepianu, gdzie jakieś papiery i kilka listów leżało.

— Możeś zazdrosny, ojcze? — zapytał żartem Bergström.

Pauli nic nie odpowiedział. Po przeczytaniu listów zaczął zwyczajem swoim przebiegać pokój. Był dzisiaj w niezwykle złym humorze. Brwi miał ściągnięte, a cały wyraz twarzy świadczył o rozdraźnieniu. Nagle przystanął przed Bergströmem.

— Wiesz, Nörgaard stawia swą kandydaturę przy wyborach do parlamentu! — rzekł.

— Czy być może! — zawołał Bergström zatrzymując nagle fotel bujający. Teraz Engelke przeszła na drugą stronę stołu.

— To fakt, mój drogi!

— A gdzież stara się o mandat?

— W jakimś małym zakątku Jutlandyi, — nie wiem doprawdy, jak się ta miejscowość nazywa. Oto otrzymuje teraz nagrodę za wielkie swoje zasługi, — do większego okręgu jest stanowczo za głupim.

— To się rozumie. Ale czy będzie wybranym?

— Przypuszczam, że tak; przeciwko Norgaardowi i bogowie bezskutecznie walczą, cóż dopiero biedni i śmiertelni ludzie. Pomijając jednak to, ma on zapewniony mandat, bo wskutek rozdwojenia obecnego w lewicy zyskała tym razem prawica w okręgu tym pewną przewagę. Przecież wszędzie teraz tak stoją rzeczy; liberał — to teraz smutne tylko pojęcie, a niedługo stanie się pojęciem komicznem...

— No, no, Nörgaard będzie posłem! cóż ty na to Engelko?

Siedziała teraz cicho, gładząc ręką serwetę na stole.

— Daj mu pokój! — odrzekła.

— Słusznie, trzeba zostawić go w spokoju. Właściwie nadaje on się bardzo dobrze do całej tej komedyi zwanej u nas polityką! Cóż Danii po wielkich mężach stanu? Jej polityka — to jedna wielka sieczkarnia...

Pauli uśmiechnął się.

— A sieczka to pokarm dla wyborców. Tak jest; zapewne, że z pokarmu tego utyć nie mogą, lecz głód w części zaspokoją. — Po chwili zaś dodał. — Lecz sieczka Nörgaarda nie należy, zdaje się, do najlepszego gatunku. Czy ma on jaki program?

— Naturalnie. Zwykłe głupstwa.

Pauli wyjął z kieszeni małą gazetę i podał ją Bergströmowi.

— To jest organ miejscowy, możesz sam zobaczyć, tu jest wszystko.

Bergström wziął do ręki pismo, szukał przez chwilę, potem z zadowoleniem usiadł w fotelu i czytał:

— Wybory do parlamentu. Söllerup. Palmowa niedziela. Z pewnego źródła dowiadujemy się, że zarząd tutejszego koła konserwatywnych wyborców, w porozumieniu z wybitnymi konserwatystami w okręgu, polecił przy nadchodzących wyborach starać się o mandat panu asesorowi Nörgaard z Kopenhagi — jako kandydatowi prawicy, na co tenże przychylną nadesłał odpowiedź.

— Jaki wspaniały styl! — ale czytajmy dalej.

— . . . rezultatu takiego możemy przyjaciołom naszym życzyć szczerze. Jak wiadomo, nazwisko Nörgaarda, dzięki znakomitym jego dziełom filozoficznym i estetycznym...

To są zapewne jego „Błędy ortograficzne" — wtrącił Pauli.

— Tak... znanem jest dobrze w świecie uczonych. Uznanie, jakiem się cieszy, zjednały mu słusznie jego gruntowne, ściśle naukowe dzieła, które w niczem nie przypominają owych powierzchownych, na takich efektach opartych utworów, ani też owych fanatycznych, agitacyjnych prac innych pisarzy — zbytecznem byłoby wymieniać nazwiska... W latach ostatnich z równą gorliwością poświęcił się on sprawom politycznym a i na tem polu zjednał sobie ogólne uznanie ludzi równie myślących. W końcu dodać musimy, że konserwatyści naszego okręgu zyskają w asesorze Nörgaard siłę wybitną; człowiek ten życie swe poświęcić jest gotów w walce przeciwko przewrotowym, burzącym dążnościom chwili obecnej. Podejmie on walkę zaciekłą z tymi kuglarzami, którzy niczego nie uszanują, co drogiem jest ludowi naszemu,

naród polski zaprzepaściła i dzisiaj wiedzie go na bezdroża...

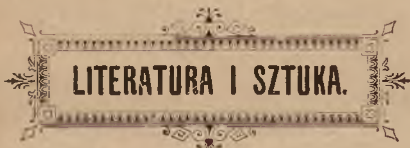
To mi polski patryotyzm polonizować, łacinizować ruski lud. a nie bronić (?) Wielkopolan przed niemczeniem. Taki patryotyzm niemiły polskiemu ludowi, ruskiemu i Słowianom wogóle. Galicyjscy patryoci nie powinni o tem zapominać, iż odtąd rozpoczął się nasz upadek, odkąd poczęliśmy miejsca ustępować Niemcom, a polonizować i łacinizować Rusinów. Przypominamy to naszym braciom galicyjskim w „„Hałyczaninie"", którego już z tej racyi nie możemy potępiać, że nie powoduje się polityką egoizmu wobec Słowian. Prześladując panslawizm zapominają Galicyanie o pangermanizmie, który już pochłonął Słowian nad Łabą, Odrą, w Pomorzu. Panslawizm nie wynarodowił nikogo z Polaków, gdy pangermanizm tyle nam ofiar zabrał.

„Wiemy, że nas za to odezwanie galicyjscy Polacy nazwą panslawistami, opłacanymi przez Rosyą itd., ale żadną miarą nie możemy pochwalać tego, co dziś Polacy w Austryi robią, wchodząc w sojusze z Niemcami i Madziarami.

„Naszym punktem wyjścia powinna być polityka polsko-słowiańska, która nas wiodła pod Grunwald, nie pod Wiedeń. Słusznie swego czasu chcieli Wielkopolanie, zamiast iść pod Wiedeń, odbierać Niemcom Szląsk i Pomorze, ale wpływy rzymskie wzięły górę.

„Ta to nieszczęsna polityka i źle pojęty patryotyzm panują u nas i dzisiaj i gubią polski naród, a razem z nim i część ruskiego narodu, który w Galicyi mieszka".

D. K.



Jak śpiewać?

A gdy śpiewać, to już śpiewać,
Jak ptaszkowie leśni.
Ani wiedząc, ani dbając,
Czy kto słucha pieśni.
Nigdy ona nie stracona,
Pochwycą ją drzewa,
W szepcie, w szumie, w cisz zadumie,
Bór ci ją odśpiewa!

A gdy śpiewać, to już śpiewać
Od serca, od ucha.
Piosnka wrząca, krew gorąca,
Jak wulkan wybucha...
Pieśń nie woda, siły doda,
Jak piastowe miody,
Tyle życia, co serc bicia,
Co w pieśni pogody!

A gdy śpiewać, to już śpiewać,
Jako duszy wola,
Na te łany, na ugory,
Na te zbożne pola.
Toć jak chleba im potrzeba
Plennej pieśni siewu,
Nic nie wzrośnie naszej wiośnie
Bez oraczów śpiewu!

A gdy śpiewać, to już śpiewać
Po tej rannej rosie.
Leć z świtaniem, z zorzy graniem,
Miłej piosnki głosie!
Z białą rosą echa niosą
Pieśń naszą daleko,
Niech nas słyszą, ranną ciszą,
Za górą, za rzeką.

A gdy śpiewać, to już śpiewać
Od nieba do ziemi,
W prostej wierze, mocno, szczerze,
A między swojemi!
Dan, czy nie dan poklask pieśni,
Co mi to zapłaci?
Nie ja stroję gęśle moje,
Ale miłość braci!

Marya Konopnicka.

OLLA HANSSON.

BÖCKLIN.

(Dokończenie.)

III.

Jest pewien rodzaj spokoju życiowego, który nazwaćby można praktycznym. Człowiek ma wrodzoną potrzebę „zoryentowania się w życiu": każdy zaspakaja tę potrzebę na swój sposób, lecz pochodzenie i cel tej potrzeby u wszystkich są jednakie. Charakterystycznym rysem tego rodzaju spokoju jest, że osiągnąć się daje albo za pomocą nizkich już od samego początku wymagań, albo też za pomocą stopniowego, dobrowolnego obniżania żądań pierwotnych. Filister posiada taki spokój, ten, kto na życiu zbankrutował, może go odzyskać.

Jest inny rodzaj spokoju życiowego, który nazwaćby można — teoretycznym. Posiadali go wszyscy wielcy metafizycy, którzy usiłowali przystosować życie swoje do wszechpotężnego systemu filozoficznego, posiadały go wszystkie pojedyńcze umysły i całe epoki dziejowe, które potrafiły scharmonizować stosunek wszechświata własną jaźnią i w tworze tym żyć umiały. Taką epoką historyczną jest francuski ancien régime; najwybitniejszym przedstawicielem tej grupy umysłów indywidualnych jest Goethe. W poezyi Heysego drga jeszcze blady odblask tego spokoju życiowego: jest w nim atoli już subtelne czucie dla niepochwytnych odcieni nastrojów chwilowych współczesnego temperamentu.

Dwa te rodzaje spokoju mają jednę cechę wspólną: osiągnąć je można za pomocą najniższych lub najwyższych funkcyi rozumu. W przeciwstawieniu do nich spokój Böcklina jest spokojem instynktu, spokojem sił żywotnych.

Dwaj współcześni pisarze w temperamencie i w dziełach swoich mają rys zbliżony do tego, co nazywam Böcklinowskim spokojem. To, J. P. Jacobsen i Turgenjew. Lecz u pierwszego spokój jest rozedrganą bezdusznością nieruchomo zapatrzonego w jeden punkt księżyca; u drugiego — melancholijną ciszą dnia jesiennego. Natomiast spokój Böcklina jest ciepłą ciszą dnia letniego, ciszą południa, wśród której słońce staje w samym środku ciemno-błękitnego nieba.

Ten przedziwny spokój, który bezpośrednio, mimowoli, bez współdziałania widza płynie z obrazów Böcklina, nie jest czemś, co artysta włożył w nie świadomie; jest to tylko wyrażający się w barwach i kształtach proces jego instynktu. Barwy i linie nie są tu pierwiastkiem istotnym, pierwszorzędnym — są one tylko środkami, za pomocą których wyraża się w zewnętrznych, widocznych, konkretnych rysach wrodzona jaźni jego odrębność czucia. Spokój w jego obrazach nie jest czemś samodzielnem w sobie, nie jest odrębną całością, o własnym bycie — jest to tylko forma bytu istoty Böcklina, forma bytu owych nieowarunkowanych, pierwotnych cech, stanowiących jądro indywidualności, z którego wszystko wyrasta: kształty cielesne i własności psychiczne a więc i te organizmy, które żyły w jednym ze zmysłów, jako dźwięk lub jako barwa, a które zowiemy dziełami sztuki.

Zkąd pochodzi, że jedno jakieś dzieło sztuki budzi w nas uczucie rozkoszy, inne — uczucie niesmaku? Na pytanie to odpowiedzieć może tylko psychologia procesu twórczego. Jeżeli dzieło sztuki budzi w nas uczucie rozkoszy, to i artysta tworzył je w rozkoszy, uczucie zaś niesmaku, którego doznajemy wobec innego jakiegoś dzieła sztuki, jest tem samem uczuciem, jakiego przy tworzeniu doznawał artysta. Dzieła sztuki, podobnie jak i ludzie, posiadają duszę, indywidualność, posiadają coś, co jest nie-

---

którzy miłość ojczyzny, wierność koronie, religię, moralność — wszystko znieść usiłują!...

— Posłuchajcie, teraz najlepsze! — zawołał Bergström, czytając dalej z zajęciem.

— Przynajmniej zaznaczył asesor Nörgaard dobitnie w swej odpowiedzi, że stoi na gruncie religijnym i że — co zatem idzie — za jeden z najgłówniejszych punktów swego programu uważa walkę z coraz więcej szerzącą się niemoralnością.

— Tego to już za wiele — rzekł, rzucając gazetę.

Wstał i parę razy przeszedł pokój szybkimi krokami.

— Ależ, cóż jest takiego? — spytał Pauli zdziwiony.

— To takie wstrętne, wierz mi ojcze — odrzekł, nie zatrzymując się.

Był cały wzburzony.

— Powiedzże, co jest u licha? — niecierpliwił się Pauli.

Bergström zaprzeczył głową.

— Nie mogę źle mówić o ludziach — a zwłaszcza o nim... możnaby to sobie źle tłomaczyć... a zresztą Engelke...

— Ależ nie krępuj się — zapomniała go już dawno!

Bergström przez chwilę się wahał. Wreszcie rzekł:

— Człowieka tego nie należy oszczędzać, dotąd nie mówiłem o tem nigdy, dla tego, że...

— O cóż chodzi? — przerwał mu Pauli.

— Chodzi o to, że porządny ten pan, który oficyalnie życie swe walce z niemoralnością poświęca, — sam nie jest bez grzechu. Miał on, mianowicie tu w Kopenhadze, stosunek z pewną młodą osobą, którą następnie niegodnie porzucił, tak że biedna kobieta z dzieckiem rzuconą była na pastwę nędzy i urągowiska, — a pan ten nie poczuwał się do obowiązku przyjść jej w czemkolwiek z pomocą! To miałem do powiedzenia!

Po chwili milczenia zapytał Pauli ostro:

— Czy wiesz o tem na pewno?

— Tak. Słyszałem to od mego przyjaciela, młodego lekarza, który sam leczył tę biedną dziewczynę w chorobie: nie ma najmniejszej wątpliwości, że tak jest.

Nastało długie milczenie. Pauli poszedł do okna i stał odwrócony.

— A to piękna historya! — rzekł w końcu.

Bergström zbliżył się do niego.

— Sprawa ta — rzekł — nie gorsza od innych w tym rodzaju, lecz ten punkt jego programu — przyznam się, zirytował mnie trochę. Co to znaczy, że się niczego po nim innego nie spodziewałem, że nadaje się on do tej komedyi, do tej w pewien system ułożonej obłudy itp. — wszystko to są abstrakcye; całkiem zaś co innego konkretny fakt, który mu w twarz rzucić można...

Podszedł teraz do Engelki i schyliwszy się pocałował ją w czoło.

— A cóż mówi na to moja mała narzeczona?

— To wstrętne — szepnęła, nie patrząc na niego.

— Co ona mówi? — spytał od okna Pauli.

— Ona sądzi, że to wstrętne, — i ma słuszność najzupełniejszą... No, ale porzućmy te uroczyste miny; przyjaciel nasz postąpił brzydko, — lecz cóż to nas obchodzi właściwie? Możemy nawet z okazyi pozbycia się go w porę — urządzić ucztę maleńką, jemu zaś życzyć powodzenia na nowo obranej drodze.

Pauli zbliżył się teraz do stołu.

— Tak, mój przyjacielu, to całkiem słuszne, ale pomyśl jakie to dla nas jest przykre: bywał on tak często w domu naszym, z Engelką tykają się nawet... Wmawiałem sobie, że posiadam trochę zdolności psychologa a na tę historyę przysiągłbym, że jest nieprawdą! Absolutnie! To, co w pierwszym rzędzie cechowało tego człowieka, to pewna... jakby tu powiedzieć — brutalna bezwzględność, głupota aż do ostateczności... ale mimo to zdawał się być prawym, uczciwym! Na zewnątrz sztywny, szorstki, lecz strona wewnętrzna — sądziłem — musi być jak liść wygładzoną... A tu ta historya... Doprawdy, że wstyd będzie witać tego człowieka na ulicy!

uchwytne a jednak o głównem stanowi wrażeniu; wibracya, unosząca się z dzieła sztuki a udzielająca się widzowi, jest ową duszą. Ta zaś wibracya, którą my odczuwamy, towarzyszyła artyście w procesie tworzenia, dzieło sztuki przewodzi ją tylko, przenosi od niego ku nam, jest właściwie tylko uzmysłowioną wibracyą, duszą, przyobleczoną w powłokę cielesną.

U Böcklina pierwsza taka wibracya jest uczuciem rozkoszy. Pozostaje ono czystem, niezmąconem, całkowitem przez czas trwania procesu twórczego i udziela się nam w końcu jako główne i ostateczne wrażenie. A jest to uczucie rozkoszy szczególnego rodzaju — uczucie pozytywne, bez przymieszki, uczucie rozkoszy par préférence.

Jest prawdopodobnem, że każdemu aktowi tworzenia i poczęcia, towarzyszą zarówno w świecie fizycznym, jak i w świecie psychicznym uczucia rozkoszy. Poczęcie jakiejś idei odbywa się wśród rozkoszy, bez względu na istotę poczętej idei. Faktem jest, pod względem moralnym smutnym, lecz pod względem psychologicznym prawdziwym, że i przestępca, w chwili powzięcia zbrodniczych pomysłów, doznaje tych fizyologicznych zmian, które psychologicznie wyrażają się jako uczucie rozkoszy. I zdaje mi się, że trudno byłoby odgraniczyć cechy normalne od nienormalnych; zdaje mi się, że od skrajnej funkcyi patologicznej do najwyższej, najidealniejszej czystości, od czynu zbrodniczego do czystej idei duchowej, dusza ludzka wznosi się po tej samej, nieprzerwanej drabinie, co przeszkadza jednak ocenianiu czynów.

Zastanówmy się n. p., wśród jakich uczuć poczęte zostały dzieła, jak „Pot-Bouille“ lub „Widma“, „Sonata Kreutzerowska“ lub „Panna Julia“. Jestem przekonany, że pierwsza chwila, chwila poczęcia, „natchnienia“, chwila, w której myśl poraz pierwszy powstała w duszy pisarza, była chwilą niesłychanej rozkoszy. Lecz jestem również szczerze przekonany, że w dalszy proces tworzenia wplątały się najrozmaitsze pierwiastki niesmaku. I gdyby cofnąć się w przeciwnym kierunku, poza chwilę poczęcia i zbadać, co poza nią leży, znalazłoby się z pewnością kłębek świadomych i nieświadomych wrażeń niesmaku, które tylko w chwili, kiedy artysta pochwycił główną nitkę, zmieniły się w uczucie rozkoszy a przy dalszem odwijaniu jej do pierwotnego powróciły stanu. Pisarzy tych zapładniał niesmak; uczucie rozkoszy było tam jednakiem zawsze zjawiskiem przelotnem.

Epoka nasza jest w wyższym może stopniu, niż którakolwiek inna, epoką uczuć niesmaku. Źródła tych uczuć głębsze są i obfitsze, niż kiedykolwiek. Nigdy przepaść między jednostką a światem nie była tak wielką, albo może też nigdy tak wielką się nie wydawała. Sprzeczność między wewnętrznym światem osobowości a światem urządzeń zewnętrzych zaostrzyła się silniej, niż kiedykolwiek. I ognisko tego niesmaku: sprzeczność, konflikt, rozdwojenie — przeniosło się również w jednostkę; indywidualność jej nie odzwierciadla harmonijnej, skończonej, jednolitej wszechbudowy, natomiast życie jej jest jakby osobowościową walką wród niezliczonego tłumu idei i systemów, rozwiązań zagadek życiowych i zbawczych niby utopii. Wokoło nas i w nas wszystko chwieje się, wszystko błyskotliwe rzuca światła, nigdy jeszcze brak punktu ciężkości tak dotkliwie ludziom uczuć się nie dawał i nigdy ludzkość więcej odeń nie była oddalona. Odczuwali to wszyscy pisarze, w których się wiek nasz zindywidualizował; odczucie zaś i uzmysłowienie tego było tajemnem ich cierpieniem i siłą tajemną, zapłodniło bowiem ich uczucie niesmaku; ono stało się w nich dźwiękiem i formą, wezbrało w nich, jako pieśń i wyrosło w nich na postacie.

Silnym wobec nich kontrastem, zjawiskiem zupełnie odosobnionem, jest Böcklin. Jest on przedstawicielem uczucia rozkoszy w świecie twórczości duchowej. Czerpie z rozkoszy i udziela rozkosz. Niema w nim rozkładowego fermentu Ibsena, ani kultu brzydoty Zoli, ani samomęczeńskich upodobań Tołstoja, ani szału pokonywania samego siebie, który cechuje Nitzschego; niema w nim też tej słodkiej melancholii, która charakteryzuje — o tyle więcej uświadomionych i o tyle zarazem wrażliwszych — ludzi dzisiejszych, świadczy zaś właściwie o odczuwaniu braku i jest przeto zamaskowanem, w najsubtelniejszą, w najdyskretniejszą formę ujętem uczuciem niesmaku. W Böcklinie jest czysta, pozytywna rozkosz. I nie stanowi ona dla niego jedynie formy tworzenia, jest treścią, materyałem; towarzyszy nietylko poczęciu idei, lecz zlewa się z ideą, jest jej właściwą istotą; trwa tedy przez czas trwania procesu twórczego, istniała bowiem przed chwilą poczęcia, leżała poza tą chwilą, jako kłębek uczuć rozkoszy. Jest poprostu indywidualnością Böcklina, właściwą istocie jego formą bytu, jest jemu tylko danym, zniкłym w czasach naszych — harmonijnym, wyższości pełnym, żywotnym spokojem.

Istnieje własny portret Böcklina, który boczną jakąś furtką, w odbiciach wydostał się na rynki. Mistrz stoi z podniesionym pędzlem — tak jakby przed chwilą był jeszcze malował i wskutek jakiejś przeszkody nagle pracę przerwał. Przyczyną przerwy tej — to ukazująca się tuż poza nim postać „śmierci“, która na skrzypkach melodye mu swoje wygrywa. Mistrz niebardzo się tem przestrasza; przerywa wprawdzie robotę, lecz bokiem tylko spogląda na szczerzącego nań zęby upiora i nie zadaje sobie nawet tyle trudu, by mu się dobrze przyjrzeć. Słucha uważnie, lecz gra ta nie umie widać zachwiać poglądu jego na świat. Wygląda nawet trochę humorystycznie, filuternie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Słuchaj, nie uda ci się: widziałem i odmalowałem bowiem raz wielkiego boga Pana, podczas gdy głupi pastuszek uciekł z przestrachu. Pan miał wyraz twarzy szyderczy — lecz zupełnie dobroduszny. Raz, przy sposobności widziałem i odmalowałem też boga mórz z całą jego rodziną, w chwili, kiedy na skale lodowej, pod biegunem północnym oddawali się poobiednim wywczasom; wszyscy zaś oni — stary, stara, dzieciaki i wieloryb domowy bardzo ujmujący mieli wygląd. Grajże sobie tedy pieśni swoje; nie są bynajmniej tak straszne, jakbyś przez przykry grymas twój wmówić nam pragnął. Wiedz bowiem, że odkąd słyszałem grającego na piszczałce swojej ojca Pana, rozumiem, że cały twój instrument jest piszczałki tej jednym tylko tonem. Gra twoja brzmi jak skok, krzyk i niepokój: to samo wygrywał stary Pan, lecz dźwięki te ginęły w morzu tonów tak potężnem, że szum ich spływał w człowieka, jako — spokój“.

Balladyna w Paryżu.

Paryski korespondent „Kraju“ poświęca następującą ocenę przedstawieniu „Balladyny“ w przekładzie p. Gasztowta w przeróbce p. Tenao na deskach teatru Renaissance:

„O ile wiem, tragedya Słowackiego, która w myśl autora, aczkolwiek na sceny podzielona, nie była dziełem scenicznem, nie doczekała się dotąd przedstawienia u nas. (Twierdzenie to jest mylnem. Balladyna ukazała się kilkakrotnie na polskich scenach. Przyp. Red.). Myślę do dokonanej tutaj probie, że byłoby to i u nas nawet po polsku, nawet z ozdobą, w oryginale najbogatszego języka poetyckiego, jakim może się pieścić ucho ludzkie, przedsięwzięciem ryzykownem i niepożądanem. (?) Tutaj, krótko rzecz wyrażając, przedsięwzięcie to stało się poprostu zamachem na sławę biednego wielkiego poety. Po francusku „Balladyna“ wypadła śmiesznie i nie mogła wypaść inaczej. Żaden też z nas tu przebywających, którzy mamy jakie takie pojęcie o tem, co się należy i pamięci wielkich poetów i literaturze, a sztuce w ogólności, nie byłby dał swojego głosu tej

---

— Można też nie kwapić się zbytnio — wtrącił Bergström.

— Tak, zapewne... ale ja się z nim niewątpliwie spotkam jeszcze w przyszłości. Zajęcia nasze prawie te same, chociaż on prace moje uważa za głupią bazgraninę!... Jako poseł pozyska jeszcze pewniejszą pozycyą, a zanim się obejrzymy, zostanie profesorem uniwersytetu. Sądząc z obecnych stosunków w kraju, zdaje się to być prawie pewnem. A być kolegą Nörgaarda, dalibóg, to do miłych nie należy rzeczy.

Bergström na razie nic nie odrzekł, dopiero po chwili milczenia odezwał się:

— Ciekaw jestem, jakby przyjęli tę wiadomość cnotliwi mieszkańcy Söllerup?

— Nie wzruszyłaby ich zbytnio; o ile znam wogóle Jutlandczyków, przywykli oni w części do tego rodzaju moralności... W jednym tylko wypadku możeby to coś znaczyło: gdyby mianowicie kler miejscowy...

— Ależ ten nie wtrąca się do polityki!

— O, tak; od pewnego czasu nawet dość wielką rozwija agitacyą. Zwłaszcza w tej okolicy nabiera znaczenia przez proboszcza tamtejszego Sörena Hausena, — o ile się nie mylę, tak się nazywa. To jakiś — jak powiadają — potwór o niezwykłej sile.

— Sören Hausen? — wykrzyknął wesoło Bergström... ależ tak... Söllerup nazywa się jego probostwo. Mój Boże! przecież to mój przyjaciel, kolega! Przypominacie sobie tego zwaryowanego teologa, o którym wam opowiadałem? To ten sam. Tak, dzisiaj opowiadał mi pewien mój znajomy, że pastor obiecał Nörgaardowi tajemnie popierać jego kandydaturę przy wyborach, — rozumie się, tylko dzięki jego wybitnie chrześcijańskiemu programowi. Że też ci pietyści wszędzie się na ziemi odnajdują i wzajem popierają.

Pauli z miną człowieka ciężko zmartwionego sięgnął po gazetę.

— Ale dla Sörena mam mimo to wielki szacunek — ciągnął dalej Bergström — to człowiek z niezwykłym temperamentem! a przytem wielu obdarzony przymiotami — bujna bogata fantazya, werwa i zapał niebywały — porywający wszystkich patos! Jak on potrafił opisywać grozę grzechu i wielkość łaski Boga! Do licha! co to za człowiek! Gdyby tak do niego parę słów napisać? O Nörgardzie? o tym szkaradnym zwitku pergaminu!... jak sądzisz, ojcze?

— Zapewnie... możnaby!... — odparł Pauli.

— Nawet mamy prawo do tego; to byłoby dlań karą, na jaką właśnie zasłużył. A przekonany jestem, że skutek pożądany osiągnę i Sören, uczciwa dusza, niebo i ziemię poruszy, żeby tu przeciwdziałać. Znam jego energię i on go obali! Doprawdy, tak uczynię...

— Bez zbytniego pospiechu, zastanów się naprzód! — rzekł spokojnie Pauli. — W zasadzie byłoby to zupełnie słusznem; człowieka takiego jak Nörgaard należy usunąć od działalności społecznej. Uważałbym to nawet za czyn sprawiedliwej nemezys, gdyby upadł właśnie wskutek przesadnego swego programu, — lecz doniesienie to winno nie z naszej wyjść ręki. Przecież nie myślisz pisać anonimowego listu?

— Rozumie się, że nie.

— A zresztą to nie miałoby znaczenia. Gdy zaś podpiszesz twoje nazwisko, on się o tem dowie, — to i skandal gotowy! dla mnie najgorszy, gdyż my z pewnością jeszcze zejdziemy się w życiu. Niewymownie byłoby mi przykro spotkać się kiedyś z człowiekiem, któremu ktoś z moich blizkich, w ważnej chwili jego życia, taką wyrządził przykrość. Sądzę, że i Engelke byłaby tem dotknięta. Bądź co bądź, tak dobrze niegdyś żyli z sobą. Zostaw to lepiej! Bóg świadkiem, że etycznie zupełnie byłoby to usprawiedliwionem — lecz, szczerze mówiąc, niepraktyczne!

— Może być, nie przeczę! — odparł Bergström.

Po chwili zaś dodał:

— A jednak, chętniebym to uczynił!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

awanturniczej wyprawie po złote runo, zawieszone na gałęzi Grabcowej wierzby. Wierzba wywołała śmiech homeryczny w sali. Ale nie radzono się żadnego z nas. Jakto? Ani nawet Rzewuskiego? Nie! Nikt mnie nie posądzi o słabość osobliwą dla autora „Alfredyny“. Ale jest to bądź co bądź człowiek obeznany i z literaturą naszą i z warunkami teatralnego powodzenia na tutejszej scenie, jak nikt: człowiek niepospolitej inteligencyi także. Nie widziałem go nawet w sali. Któż tedy z rodaków dopomagał p. Léger w jego przedsięwzięciu? Pan Cypryan Godebski podobno, dobry rzeźbiarz, ani słowa. I nikt więcej? Nikt. Pan Léger mógł zresztą niewiedzieć, do kogo mu trafić należało. Inaczej, gdybyśmy mieli jakieś kółko swojskie, ogniskujące, jak mówiłem w moim ostatnim liście, nasze życie tutejsze. Mamy stacyę naukową, która stanowi przedłużenie linii A. B. na krakowskim rynku, i o której p. Léger zapewne nie wie, a i my sami nie bardzo wiemy. Panu Léger podobała się rola Grabca, więc odegrał rolę Grabca; a że nazajutrz prasa wyśmiała „w polskiem rzekomem arcydziele hiszpańską ollapodridę, czy też angielski pudding z „Lady Macbeth“, „Króla Leara“ i „Tytanii“, o to głowa go nie boli. Słyszałem po przedstawieniu rodaków utyskujących na złą wolę tutejszej publiczności i krytyki dla wszystkiego, co polskie. Bajka! wierutna bajka! Sarcey spał, co prawda, jak zabity już po drugim akcie (co mu się zresztą często zdarza); ale się zbudził przy końcu aktu piątego i oddał sprawiedliwość w swoim feljetonie ostatniej scenie tragedyi, która należy do najoryginalniejszych i najpotężniejszych natchnień teatralnych wszystkich krajów. A że w całości „Balladyna“ oryginalną nie jest; że pisząc ten poemat Słowacki miał na myśli Shakespeara, i wyhaftował tylko na tle wypożyczonem cudowne (po polsku) arabeski swojej wyobraźni, temu przeczyć niepodobna. Trzeba tedy było zostawić „Balladynę“ tam, gdzie ją u nas nawet potomność zostawiła, i albo nie pokazywać wcale Słowackiego Francuzom, albo pokazać go z innej strony. I trzebaby, aby tego rodzaju przedsięwzięcia, kompromitujące dla naszej literackiej sławy, nie mogły mieć miejsca w ten sposób, samopas, gwoli czyjejś tam fantazyi. Fantazya, zkądinąd niewinna, pana Léger byłaby pofrunęła gdzieindziej, gdyby było komu obciąć jej skrzydła, lub inaczej pokierować.“

EGOTYZM.

Wynalazcą tego nowego wyrazu i pojęcia jest Max Nordau, dostatecznie znany autor książki „Die Entartung“. Trzeba więc rozróżniać „tyzm“ od „izmu“. Egoistom brak w życiu zaparcia się siebie, szlachetności, wdzięczności, zresztą są to ludzie na ciele i umyśle zdrowi. Egotysta jest zjawiskiem patologicznem, jednostką zdegenerowaną, rozstrojoną umysłowo i moralnie. Nie rozumie on świata, przecenia wartość swojego ja, niezdolny do rozważania czynów, rządzi się tylko instynktami, popędem. Pragnień i zachcianek swoich zmysłów nie umie podporządkować względom innym. Skłonnościom i uczuciu, nieświadomemu siebie, przypisuje wagę śmieszną. Zdolności przystosowania się nie posiada absolutnie żadnej.

Egotysta opiera się przyrodzie, walczy przeciw społeczeństwu, przeciw obowięzującym prawom, które go drażnią i urażają. Znajduje się ustawicznie w konflikcie ze wszystkiem, co się wogóle dzieje, usiłuje wszystko zniweczyć, lub przynajmniej o tem marzy. Jest moralnym szaleńcem, złoczyńcą, pesymistą, anarchistą, mizantropem, ale wszystkiem tem przeważnie na wewnątrz.

Określając tak istotę egotyzmu, roztrząsa Max Nordau różne jego przejawy w literaturze.

Najpierw zapalonemu dyagnostykowi dostają się pod nóż secyjny t. zw. parnasiści. Ludzi należących do tej koteryi można według Nordaua scharakteryzować dwoma słowy: doskonałość formy i brak kompletny uczucia. Catulle Mendès doszedł do krańcowości w ich teoryi, napisawszy taki wiersz:

Rozalia, Emelina,
Małgorzata,
Odetta,
Aliza, Alina,
Paulina, Hippolita,
Lucya, Lucyla,
Cecylia,
Dafna, Melita...

Litania ta imion żeńskich ciągnie się jeszcze przez strof jedenaście, aż w końcu dość tego i poecie, więc kończy:

Zelma, Zelia,
Regina, Rena,
Irena?...
O! jeszcze nie wszystkie!

Max Nordau bawi się tem dziwactwem poety, pojmując doskonale, jaką przyjemność sprawiać może don Juanowi wyliczanie w pamięci kobiet, które kochał.

Leconte de Lisle i Catulle Mendès protestowali przeciw zarzutowi braku uczucia. Są oni raczej bezwzględni aniżeli bezuczuciowi. Swobodnie pielęgnują swój egotyzm. Nie uznawają ani zbrodni ani cnoty, tylko rzecz piękną lub brzydką, szlachetną lub nizką.

U Baudelaira ujawnia się amatorstwo zła i lenistwa. Czem jest Baudelaire? Max Nordau nie obchodzi się z nim wcale delikatnie. Baudelaire przez cały żywot nosił na sobie stygmaty degeneracyi. Był zarówno sceptykiem, jak erotomanem, używał haszyszu i opium. Czuł słabość charakterystyczną do innych egotystów, a ze wszystkich autorów poważał najbardziej waryata Edgara Poë i morfinistę Thomasa de Quimeye.

Więc nie dziw, że Baudelaire nienawidzi przyrodę i życie, że się rozkoszuje obrazem śmierci i zgnilizny, że najchętniej wdycha woń rozkładu. Co go jeszcze podrażnia i interesuje, to przewrotność, kłamstwo, podłość. Zwraca się w modlitwach ku szatanowi i cieszy się na gorejące piekło.

O uczniach i następcach Baudelaire'a, niechaj nikt sobie nie wyobraża, aby mieli być lepszymi od swego mistrza. Tęsknotę, szaleństwo i amatorstwo do strupieszałości i zgnilizny odziedziczył po nim Maurice Rollinat. Jean Richepin w swych „Śpiewach żebraka“ zapożyczył u niego maniery uświęcania złego.

Baudelaire'a dyabolizm wypieścili Villiers de l'Isly i Barbey d'Aureville. Obydwaj ci poeci mają obok cech powszechnych degeneracyi cały szereg znamion specyalnych. Villiers i Barbey przywłaszczyli sobie, jak waryaci zwykli czynić, pochodzenie fikcyjne. Pierwszy miał się za potomka wielkiego mistrza kawalerów maltańskich (który jako taki rozumie się nie mógł być żonatym). Pewnego dnia zwrócił się do królowej angielskiej z prośbą. aby mu jako dziedzicowi prawomocnemu dopomogła do wskrzeszenia państwa na Malcie.

Barbey przyłączył do swego nazwiska przydomek szlachecki d'Aurevilly i mówił zawsze o swem pochodzeniu szlacheckiem, w czem nie było ani słowa prawdy. Obydwaj byli fanatycznymi katolikami. oddając się atoli praktykom bezbożnym. Obydwaj lubowali się w kostyumach dziwacznych. Villiers de l'Isle, a więcej jeszcze Barbey d'Aureville stworzyli w poezyi kult satanizmu, przypominający szaleństwa średnich wieków. Barbey tutaj doszedł do ostatecznych granic fantazyi.

PIOTR LOTI.

SKAZANY NA RZEŹ.

Płynęliśmy przez ocean Indyjski.

Smutny to był wieczór, wiatr świszczał i jęczał żałośnie.

Z dwunastu wołów, jakie zakupiliśmy w Singapoor, aby nam w drodze nie zabrakło pożywienia, dwa już tylko pozostały. Starano się oszczędzać dwie te ostatnie ofiary, bo podróż przedłużała się z powodu wiatru przeciwnego.

Litość wzbudzał widok obu tych zwierząt, wychudłych, z szerścią wytartą i z wystającemi kośćmi na biodrach. Od wielu już dni znajdowały się one na okręcie, pozostawiwszy za sobą swoje pastwiska, do których nigdy już nie miały powrócić. Przywiązane za rogi do słupa, stały obok siebie i pokornie poddając się losowi, smutnie spuszczały łby. ilekroć spienione fale morskie, rozpryskując się o boki okrętu, oblewały ich ciała strumieniem zimnej wody. Spoglądając przed siebie zamglonem okiem, przeżuwały one zarazem stęchłe siano, zmoczone nieco słoną wodą. Skazańce to były, zawczasu nieodwołalnie wykreślone z grona istot żyjących — skazańce, które przed chwilą zgonu dużo jeszcze cierpieć miały. Chłód, silne wstrząśnienia, wilgoć, strach, odrętwienie boleśnie dawały im się we znaki.

Dziwnie smutnym wydawał mi się ten wieczór. Na morzu niejednokrotnie zdarzają się podobne wieczory, gdy czarne ołowiane chmury wloką się leniwo po niebie, a zapadająca noc grozi burzą. Wtedy, czując się samotnym w pośród niezmierzonej wód przestrzeni, człowiek doznaje dziwnego jakiegoś strachu, którego na lądzie ciemności nocne nigdyby wzbudzić w nim nie zdołały. A dwa te biedne woły — istoty na łąkach i bujnych pastwiskach wzrosłe, czujące się stokroć więcej od nas osamotnionemi na tej wodnej pustyni i nie znające pociechy, jakie w serca ludzkie wlewa nadzieja, musiały bez wątpienia odczuwać po swojemu nieokreślony ów strach, który budził w nich poczucie bliskiego skonu.

Przeżuwały one siano, z widoczną trudnością poruszając osłabionemi szczękami, a duże ich oczy wpatrywały się nieruchomo w ponure wód bezmiary. Dawni towarzysze kolejno tuż przy nich padali martwo na deski pokładu; wzrastające osamotnienie zbliżyło ich widocznie ku sobie, bo oto w dowód przyjaźni dotykały się wzajemnie rogami.

Wtem jeden z majtków, czuwających nad pożywieniem załogi, zbliżył się do mnie i wyrzekł uroczystym tonem:

— Kapitanie, trzebaby zabić wołu!

Niechaj go licho porwie z jego zabiegliwością. Gniew mnie ogarnął, choć, prawdę mówiąc, człowiek ten nic nie zawinił, spełniając swój obowiązek. Ale... nieszczęściło mi się dziwnie podczas tej przeprawy: ilekroć byłem na służbie, zawsze zabijano wołu. Czynność ta odbywała się w pobliżu miejsca, na którem znajdować się musiałem, a wtedy nadaremnie odwracasz oczy, starasz się myśleć o czem innem lub wpatrujesz w dal — zawsze uszu twoich dojdzie uderzenie obucha w sam środek czoła biednego zwierzęcia, przywiązanego za rogi ze spuszczonym łbem... a następnie łoskot ciała, padającego bezwładnie na pokład. Potem znów obdzierają zwierzę ze skóry i ćwiertują je... Wstrętna, mdła woń rozchodzi się wokoło, a krew rozpryskuje się po pokładzie, tak czysto zazwyczaj utrzymywanym. Ohydny, przerażający widok!

Trzeba było zatem zabić wołu! Gromadka majtków skupiła się wokoło słupa, do którego miano przywiązać zwierzę, poczem z obu pozostałych wołów wybrano słabszego, który zdychał już prawie i bez oporu dał się na śmierć prowadzić.

Wtedy drugi wół zwolna odwrócił głowę, smętnem spojrzeniem przeprowadził oddalającego się towarzysza, a widząc, że wiodą go tam, gdzie tylu innych poprzednio wydało ostatnie tchnienie, nagle zrozumiał wszystko; błysk świadomości przemknął przez umysł przeżuwającego zwierzęcia i z piersi jego wydarł się ryk rozpaczy... Ryk tego wołu! nigdy w życiu nie słyszałem okrzyku, więcej rozdzierającego serce! Zimny dreszcz mnie przebiegł... W głosie tym dźwięczał gorzki wyrzut, uczyniony całemu rodzajowi ludzkiemu, a zarazem głębokie, rozrzewniające uczucie poddania się losowi... w ryku

Tak więc Baudelaire spłodził Barbeya, a Barbey spłodził Józefa Peledana, wielkiego maga ich szkoły. Z tego rodu pochodzi głośny dziś w Europie I. K. Huysman. O nim mówi Nordau, że jest klasycznym typem hysteryka bez oryginalności.

Rozpoczął on karyerę literacką jako wielbiciel fanatyczny Zoli i w pierwszej fazie twórczości wyrzucał z siebie powieści i nowele, w których, jak n. p. w „Marcie", prześcignął pierwowzór swój w brudnym naturaliźmie. Potem nagle zapatrywania zmienił — zwyczaj to histeryków — wyparł się Zoli i wpadł w dyabolizm, upajając się Bandelairem. Jako dekadent jest Huysman, zdaniem Nordaua, tak samo bezmyślnym, jakim był w okresie naturalizmu...

Cały rozdział poświęca autor Ibsenizmowi. Nordau nie odmawia Ibsenowi wielkiego talentu, przeciwnie z pietyzmem pewnym rysuje jego sylwetkę literacką, tak zaszczytnie wyróżniającą się wśród świata sztuki. W końcu atoli wydaje się, że według mniemania jego autor „Dzikiej kaczki" także zdrowym nie jest, że jest również zdegenerowanym, rozstrojonym, słowem — waryat.

Czy są ludzie zdrowi wśród rzeszy gladyatorów dzisiejszego cyrku literackiego? Może Gerhardt Hauptmann?

Hauptmanna ocenia Nordau na końcu swej książki. Żałuje, że autor „Tkaczy" pozwala się zaliczać do towarzystwa „Młodych Niemiec", bo do nich nie należy. Robi pewne ustępstwo jego estetyce trywialności, o której atoli powiada, iż wypływa z niedbalstwa, które zdradza poczynającą się płytkość talentu. Mimo to Hauptmann wyróżnia się kilku przedniemi właściwościami. Język jego pełen dosady, kolorowany naturalnie, wyraźny i przeczuty; poeta umie patrzeć na rzeczywistość i posiada zdolności zmieniania jej na poezyę.

Hauptmann jest poetą najniższych warstw społecznych. Operuje ludźmi najprostszymi, mówiącymi dyalektem. Gdy przystępuje do oddania charakterów bardziej skomplikowanych, klasy oświeceńszej, wówczas stąpa chwiejnie, ucieka się do wzorków realistycznych, zamiast brać wszystko z rzeczywistości. Jego dramat „Tkacze" wzbudza współczucie nie dla jednostki, ale dla całej warstwy. Tym sposobem stworzył nową formę dramatu, którego bohaterem nie jest osoba, ale tłum. Znajomym Hauptmanna doradza, aby świadomość poety pogłębiali, jeżeli chcą, aby pozostał artystą, którym pokazał się w „Tkaczach".

D. Królikowski.

W setną rocznicę

trzeciego rozbioru Polski.

(Podług rozprawy Philippsona i Sorela „O pokoju Bazylejskim").

Dnia 19 lipca 1792 r. zaszczyciło „złotą" Moguncyę świetne i dostojne towarzystwo, składające się z dwóch głów ukoronowanych: Franciszka austryackiego, ogłoszonego cotylko cesarzem w pobliskim Frankfurcie i króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II. Wobec szczupłego i niepozornego „Spiessbürgera" Habsburga tem wspanialej uwydatniała się postać Hohenzollerna, który w całej pełni rozwoju zdawał się być niejako uosobieniem władzy i mocy.

Obaj monarchowie jeden cel mieli na względzie: pragnęli ukrócić wodze cotylko wybuchłej rewolucyi francuskiej, hardo i zuchwale wypowiadającej wojnę władzcom starej Europy.

Cesarz — piastun najwyższej i najstarszej godności chrześciańskiej, blisko spokrewniony z nieszczęśliwym dworem francuskim, wystąpił w charakterze reprezentanta legitimizmu i zdeptanego prawa; — monarcha pruski, ambitny i pełen nadziei paladyn absolutzmu i tradycyjnych instytucyi, stanął naprzeciw samowoli ludów i rewolucyjnej wolności jako prawdziwy typ króla z „Bożej łaski". W zamku elektora i zarazem wielkiego kanclerza rzeszy niemieckiej bawiono się ochoczo; — wyprawiano uczty, bale i koncerty; — wieczorem potężny Ren zajaśniał tysiącem świateł; — zdawać się mogło, iż prastare, święte państwo rzymskie pragnie przed końcem swego istnienia raz jeszcze ukazać się w całym swym blasku narodowi niemieckiemu.

Lecz wszystko to pozorem było jedynie... obłudą!

Kiedy monarchowie światu całemu zapowiadali krucyatę przeciw rewolucyi — ich dyplomaci targowali się pokryjomu o szmat ziemi, jaki sprzymierzeńcom przypaść miał w nagrodę za poniesione trudy. — Prusy zupełnie bezprawnie żądały sporego kawała ziemi na wskroś prawowitej Rzeczypospolitej polskiej, Austrya natomiast domagała się wymiany Bawaryi za Belgią, (nie licząc się wcale ze zezwoleniem Wittelsbachów) oraz północnych prowincyi, należących do tego samego króla francuskiego, w którego obronie wyruszano na plac boju. Cesarski wicekanclerz Cobenze głośno nawet myśl swą wypowiedział, iż w miarę dłuższej wojny i wzrastających zaburzeń Francya gotową będzie do coraz większych ustępstw na korzyść Austryi.

Przymierze, opierające się li tylko na kłamstwie i prywacie, trwałem być nie mogło. — Niebawem zazdrość i niechęć wkradła się między sprzymierzonych, stanowczo paraliżując wszelkie wojenne operacye. — Tymczasem posłuchy o niepodległości francuskich rewolucyonistów już się ziściły. Nie waleczność, nie umiejętność sztuki wojennej, lecz brak jedności u przymierzonych stanowiły o ich zwycięstwie. To samo zdanie wygłosił niedawno sławny historyk francuski Artur Chuquet i wielu innych jego poprzedników.

Prusy sięgnęły już naprzód po nagrodę, przystępując wraz z Rosyą do grabieży Polski w r. 1793. Teraz i Austrya domagała się gwałtem udziału w zdobyczach, których Prusy w żaden sposób w Polsce ofiarować jej nie chciały, obiecując powetować straty w odległej Francyi. W tem wybuchło powstanie w Polsce i Fryderyk Wilhelm osobiście pospieszył pod mury Warszawy; Austrya mimo ugody wzbraniała się pospieszyć mu z pomocą. Rozchwiało się przymierze. Obawa przed Austryą paraliżowała wojnę Prusaków nad Renem; Austryacy zaś, chcąc Prusom wydrzeć kawał Polski, nie zasilali wojsk swych w Belgii, tak, że niebawem kraj ten wielki i bogaty dostał się w ręce Francuzów. — Naczelny wódz austryacki nie taił się bynajmniej, że chwilowo nie tyle zależy mu na prowadzeniu wojny z Francyą, ile na zatrzymaniu wojska w kraju, by stać na pogotowiu przeciw nieprzyjacielskim Prusom. Cesarski minister spraw zewnętrznych Thugut poznał w Prusach niebezpieczniejszą niż we Francyi rywalkę, nie życzył sobie zatem z niemi żadnej koalicyi, wysłał nawet do Londynu hr. Mercy, by nakłonił Wielką Brytanię do przekazania sum, wypożyczonych Prusom na rzecz Austryi.

Równocześnie zawiązał intrygę w Petersburgu, by Rosyę zniewolić do zerwania z Prusami, a natomiast działając z nią wspólnie w kwestyi polskiej, przeciągnąć ją na stronę Austryi. Dyplomacya wiedeńskiego ministra tak w Londynie jak i w Petersburgu pomyślny odniosła rezultat. Anglia wypowiedziała Berlińczykom pożyczkę, Rosya przystąpiła do współudziału z Austryą w sprawie polskiej.

Fryderykowi Wilhelmowi II groziło wielkie niebezpieczeństwo. Jego dawni sprzymierzeńcy okazywali mu jakąś niechęć; z drugiej strony parła republika francuska, która z dniem każdym w potęgę wzrastała. Zagniewany na Austryę i Rosyę, zaniechał oblężenia Warszawy. Równocześnie wybuchło powstanie w polskich prowincyach, do Prus należących; powstańcy zdobyli Bydgoszcz i oblegli Toruń, a przy tem wszystkiem finansowe stosunki państwa w opłakanym znajdowały się stanie. — W Berlinie zawiązały się w sprawie pokoju dwa stronnictwa. Stronnictwo jedno — starej szkoły Fryderyka Wielkiego, któremu brat zmarłego króla, książę Henryk, nadawał znaczenia swem wysokiem urodzeniem i ustaloną reputacyą wojenną, — pomijało całkiem interesa ogólnoniemieckie, a widząc w Austryi wroga Prus, chciało mieć we Francyi prawdziwego sprzymierzeńca i zawrzeć z nią osobny pokój. — Przedstawicielami drugiego stronnictwa było młode pokolenie, na wskroś przejęte duchem niemieckim, które tylko pod tym warunkiem zgadzało się na układy z Francyą, jeżeli układ ten zapewni pokój całemu państwu niemieckiemu. Haugwitz, a przedewszystkiem Hardenberg stali na czele tego politycznego stronnictwa i niebawem pozyskali dla sprawy swej samego króla. Chwiejny, dobroduszny i sangwiniczny Fryderyk Wilhelm widząc, iż sława pogromcy rewolucyjnej hydry i oswobodziciela korony francuskiej niechybnie go ominęła, uczepił się myśli zapewnienia pokoju całemu państwu niemieckiemu, postawienia Prus na czele Niemiec i poskromienia zazdrosnej Austryi. Nowy ten projekt polityki pruskiej znalazł poklask w całych Niemczech, które, zrażone nieustanną i żadnych korzyści nie przynoszącą wojną, cieszyły się nadzieją, iż zdołają bez wielkich ofiar okupić pokój za pośrednictwem Prus.

---

tym brzmiało coś stłumionego, w sobie skupionego, jak gdyby zwierzę jasno zdawało sobie sprawę, że jęki jego pozostaną bezowocnymi i nigdy oddźwięku nie znajdą. Zdawało mi się, że wół ten odczuwa głęboko swe osamotnienie i rykiem swym chce powiedzieć: „Ach! oto nadejść musiała wreszcie ostatnia chwila dla tego, który był już jedynym z moich braci, który wraz ze mną przybył ztamtąd... z ojczyzny... gdzie bujaliśmy swobodnie po łąkach. Wkrótce i moja kolej nadejdzie, a nikt nie ulituje się nademną, tak jak dzisiaj nikt nad nim nie ma litości!"

O! nieprawda! w mojem sercu zrodziła się litość bezgraniczna! Przez chwilę nawet taki szał mnie ogarnął, że chciałem tam pobiedz i przycisnąć do piersi wielki łeb nieszczęśliwego, schorowanego zwierzęcia! Wszak takiemi to zewnętrznemi objawami współczucia usiłujemy zazwyczaj podnieść zwodniczą nadzieję w sercach tych, którzy cierpią lub konają.

Niepodobna jednak było znikąd spodziewać się ratunku, skoro nawet ja, tak głęboko odczuwszy rozpacz biednego wołu, stałem sztywny, nieruchomy i rozmyślnie odwróciłem oczy. Czyż boleść bezrozumnego zwierzęcia jest pobudką, dostateczną ku temu, aby skrócić czas podróży, lub też trzystu ludzi pozbawić kawałka świeżego mięsa? Czyż nie nazwanoby szaleńcem człowieka, w którego umyśle powstałaby myśl podobna?

Mały jakiś chłopczyna, który zapewne także nikogo nie miał na świecie i nigdy nie znalazł litości, usłyszał ten jęk i w głębi duszy zrozumiał bezmiar dźwięczącej w nim rozpaczy. Pobiegł bez namysłu do biednego wołu i pieszczotliwie głaskał go po łbie. Gdyby dziecię to umiało wyrażać jasno swe myśli, niezawodnie byłoby ono powiedziało:

— I oni także umrą kiedyś, ci wszyscy, którzy ciebie jutro zabić zamierzają... umrą, nie wyłączając najzdrowszych i najsilniejszych... a kto wie, czy straszna ta chwila nie będzie dla nich boleśniejszą, niżeli nią jest dla ciebie... kto wie, czy więcej cierpieć nie będą i czy nie woleliby, aby ich ogłuszono uderzeniem obucha!

Jak gdyby w dowód wdzięczności za tę pieszczotę, zwierzę podniosło na chłopca łagodne oczy i lizać go zaczęło po ręku. Ale to trwało chwilkę tylko... błysk świadomości, który rozjaśnił był jego umysł, zgasł już teraz bezpowrotnie.

Okręt mknął chyżo w dal niezmierną... wiatr świszczał i huczał... wzmagające się ciemności zapowiadały noc burzliwą, a przy zwłokach towarzysza, które stały się teraz bezkształtną masą mięsa, zawieszonego na haku, biedny wół przeżuwał znowu z niewzruszonym spokojem. Ciasny zakres pojęć jego nie sięgał dalej... teraz o niczem nie myślał... nic nie pamiętał!

Zresztą wojska francuskie w porównaniu do kilkakrotnie pobitych wojsk austryackich nie poniosły żadnej ciężkiej porażki i dawały przeto gwarancyę, że potrafią osłonić integralność państwa niemieckiego. — Dla czegóż więc prowadzić miano w interesie Austryi wojnę o Belgię, całkiem dla sprawy niemieckiej obojętną? — Elektor moguncki, który ongi z takim przepychem ugaszczał Franciszka II i Fryderyka Wilhelma II przed wyprawą obu tych monarchów przeciw rewolucyi, objawił życzenie zawarcia ogólnego pokoju, a d. 24 października stawił wniosek na sejmie w Ratysbonie, by zawrzeć pokój z Rzecząpospolitą francuską na zasadzie, „uti posidetis“. Prusy usilnie starały się poprzeć wniosek elektora mogunckiego i niejako umocnić go propozycyą uczynienia Fryderyka Wilhelma II pośrednikiem tego pokoju. Projekt się udał. W grudniu wniosek przyjęto, wyrażając życzenie, żeby i cesarz do jego urzeczywistnienia przyszedł w pomoc Prusom. Ze strony dworu berlińskiego był to krok wielce dyplomatyczny, dzięki któremu układy z Francyą wypadły korzystnie dla interesów państwa.

Całe Niemcy z niekłamaną radością przyjęły uchwałę sejmu ratysbońskiego. W miesiącach listopadzie i grudniu major pruski Meyerinck i sekretarz legacyjny Harnier z Bazylei rozpoczęli układy z posłem francuskim, mądrym i szlachetnym Barthélemy. Jednakże nie doszli do stanowczych rezultatów, gdyż nastąpiła zmiana stosunków, mających stanowić o dalszem położeniu Europy. — Thugut tryumfował. Carowa Katarzyna II, pominąwszy zupełnie zezwolenie Prus, zawarła d. 3 stycznia r. 1795 ugodę z Austryą, na mocy której wszystkie trzy mocarstwa przystąpić miały do ostatecznego rozbioru Polski. W razie, gdyby Prusy z przypadłej im części, która rzeczywiście nie była korzystną dla ich interesów i całkiem żądaniom ich nie odpowiadała, zadowolone nie były — obydwa cesarskie dwory związać się miały przeciw nim, jako przeciw „wspólnemu nieprzyjacielowi“ formalnem przymierzem.

Lecz niedość było jednej grabieży. — Rosya jęła namawiać Austryę, by szukała indemnizacyi strat, poniesionych w wojnie francuskiej, w okupacyi republiki weneckiej. I te same mocarstwa, które ongi wśród szumnych frazesów zapowiadały krucyatę w imię prawa, sprawiedliwości i legitymizmu, postanowiły teraz bez żadnych skrupułów zagrabić jedno z najspokojniejszych, najstarszych, najbardziej prawowitych i zasłużonych państw europejskich. Podobny egoizm słuszną odebrał chłostę od wojsk rewolucyonistów i Napoleona I.

Namowy Rosyi miały ten cel na względzie, żeby Austryę usunąć od zachodu tj. od niemieckich i niderlandzkich prowincyi, a natomiast wyprzeć ją na słowiański wschód i włoskie południe. W danym razie w cesarstwie, gdzie Niemcy stanowiliby tylko jednę czwartę ludności, mowy być nie mogło o państwie niemieckiem o li tylko niemieckim charakterze.

Niebawem cesarz Franciszek odmowną dał odpowiedź na propozycyę sejmu ratysbońskiego. Przekonały się zatem Prusy, iż przymierze rosyjsko-austryackie zmusza je do jak najprędszego zawarcia pokoju z Francyą, jako też miały jawny dowód w odpowiedzi cesarskiej, że pokój ten zawrzeć im trzeba bez współudziału Austryi. — We Francyi większa część narodu, a z nim stronnictwo umiarkowane, stojące chwilowo u steru rządu, nauczone doświadczeniem, iż walk zewnętrznych na równi z wewnętrznemi zamieszkami lekceważyć nie można, popierało również myśl ukończenia wojny.

W początkach stycznia r. 1795 udał się sekretarz legacyjny Harnier, na zaproszenie komitetu „Zbawienia publicznego“ na poufne posiedzenie do Paryża, gdzie wspólnie obradować miano nad interesami Francyi i Prus. Równocześnie wojska francuzkie, dzięki nieudolności angielsko-orańskich dowódzców, których armia całkowitemu uległa rozprzężeniu i dzięki energicznej agitacyi partyi republikańskiej w Holandyi, cieszyły się wielkiem powodzeniem. Okoliczność ta niekorzystnie wpłynęła na utworzenie się dzieła pokoju. — Niebawem rewolucyoniści dotarli do samych krańców północnej Holandyi i prawie bez oporu zdobyli całe terytoryum zjednoczonych prowincyi. Przez odniesione zwycięstwo potęga militarna francuzka zyskała na sile w Niemczech północnych, w samej zaś republice przechyliła szalę zwycięztwa na korzyść żywiołów radykalnych. Dwie te okoliczności sprawiły, iż komitet „zbawienia publicznego“ zupełnie wbrew wygłaszanym teoryom bezinteresowności, zażądał na zasadzie „naturalnych granic“ odstąpienia lewego brzegu Renu. — Jednakże do tyle okazał się wspaniałomyślnym, iż przyrzekł Prusom indemnizacyę kosztem innych państw niemieckich, a nawet związał się z niemi formalnem przymierzem, mającem na celu postawienie Prus na czele północnych Niemiec.

Dla wytrawnego i myślącego polityka przedstawiało się teraz podwójne pole działania. Albo, odwołując się do honoru innych państw i ich obietnic nie odstąpić lewego brzega Renu i przez energiczne prowadzenie wojny zmusić Francuzów, istotnie potrzebujących pokoju, do ustępstw, lub też przyjąć propozycye, stawiane przez Francyę, t. j. zrzec się lewego brzegu Renu, a natomiast związawszy się przymierzem z republiką, objąć panowanie nad północnemi Niemcami. — Z pomiędzy ministrów pruskich podeszły w latach Finkenstein był zwolennikiem pierwszej taktyki dyplomatycznej — zwolennikiem drugiej był Alvensleben, który słusznie zwracając uwagę na opłakane stosunki finansowe Prus, jako też na jawną nieprzyjaźń dwóch mocarstw, orzekł, iż dalsze prowadzenie wojny jest wprost rzeczą niemożliwą. — Jednakże król Fryderyk Wilhelm, w sposób właściwy naturom słabym i chwiejnym chciał mieć koniecznie ze wszech stron drogę otwartą, i za radą hr. Haugwitza chwycił się „złotego środka“, mającego pogodzić korzyść z honorem. W samej rzeczy obrał sobie dwie taktyki naraz, gdyż ani nie chciał zezwolić na przymierze z Francyą, ani odstąpić lewego brzegu Renu przed uchwałą sejmową. — Taką była stanowcza decyzya monarchy, który nigdy nie myślał i nie działał na seryo. Serce pchało go w stronę niemieckich sprzymierzeńców, — polityka w stronę Francyi; — nie chciał związać się żadnem przymierzem, a mimo to wziąć udział w zdobyczach Polski. — Lecz ani król, ani Haugwitz nie zastanowili się nad tem, że zdając na łaskę sejmu ratysbońskiego rozstrzygnięcie kwestyi posiadłości nadreńskich, kwestyi, mającej stanowić o przyszłości środkowej Europy, zrzekały się Prusy swego stanowiska jako „mocarstwa europejskiego“. *H. S.*

(Dokończenie nastąpi.)

SZKOŁA I WYCHOWANIE.

Dyscyplina w szkołach pruskich.

Prócz częstych a monotonnych wywodów o niedostatkach szkół elementarnych, których treść jednostajną stanowi twierdzenie, że religijne uczucia dzieci katolickich niedość są uwzględniane, wskutek czego dzieci te socyalistami w przyszłości zostać mogą — czytamy nieraz w dziennikach poznańskich krótkie i suche doniesienia o faktach wielce charakterystycznych, rzucających ponure światło na stan naszego szkolnictwa.

Oto jeden z nich:

„Przed izbą karną w Inowrocławiu toczył się dnia 18 b. m. ciekawy proces przeciw nauczycielowi Braunowi z Minutowejwsi o przekroczenie prawa o karaniu dzieci. Oskarżony miał wydrzeć pewnemu uczniowi pęk włosów za to, że nie mógł się nauczyć tabliczki mnożenia. Na stole złożono jako corpus delicti ów wydarty pęk włosów, a oskarżony istotnie przyznał, że one pochodzą z głowy ucznia. Powołani jako świadkowie komisarz obwodowy Gottschalk i sołtys miejscowy nie wystawili nauczycielowi dobrego świadectwa. Sołtys zeznawał, że w jego gminie panują nieznośne stosunki z powodu postępowania nauczyciela, że często już zanoszono na niego skargi za katowanie dzieci. Oskarżony wystąpił przeciw świadkowi w tak nieprzyzwoity sposób, że przewodniczący sądu powołał go do porządku. Słuchano 5 dzieci, wszystkie zeznały na niekorzyć nauczyciela. Jako łagodzącą okoliczność przyjęto, że nauczyciel jest nerwowym i leczył się kilka miesięcy u wód na nerwy. Prokurator starał się wykazać, na jakie szykany wystawieni są nauczyciele, mianowicie na wsi. Ze względu na liche wyposażenie nauczycieli na wsi wniósł prokurator o nałożenie na nauczyciela Brauna za pobicie ucznia, które zostało stwierdzone, 10 marek kary. Sąd skazał go tylko na 5 marek.“

Fakt ten nie jest odosobnionym ani wyjątkowym. Dla bardzo zrozumiałych przyczyn procesy o nadużycie kar cielesnych w szkole są stosunkowo rzadkie, lecz natomiast niezmiernie częstemi są wypadki, które do takich procesów słusznych powodów dostarczyćby mogły. Dyscyplina, linia lub trzcinka są w naszych ludowych szkółkach tak pospolicie używanym środkiem wychowawczym, że dzieci do nich uczęszczające wprost nie umieją sobie wyobrazić nauki bez bicia. Jakkolwiek żaden pedagog nie przyzna, aby środki te na rozwój umysłu dodatnio odziaływać mogły, to i w tym kierunku zły zwyczaj nauczycieli wywołuje złe nawyknienia uczniów i sprawia, że po pewnym czasie niepodobna prawie jaką taką utrzymać między nimi karność, nie dzierżąc w ręku jakiegokolwiek narzędzia wymiaru sprawiedliwości.

Nadużycia kar cielesnych w szkole spowodowały jednego z posłów naszych, p. L. Czarlińskiego do poruszenia tej kwestyi w izbie poselskiej. — Odpowiedź ministra oświaty była zupełnie ogólnikową i wcale niezadawalniającą, mimo to poprzestano na niej i wśród nader obszernych rozpraw nad etatem ministerstwa oświaty sprawa tak ważna poruszoną po raz drugi nie została. A jednak owo bicie i poniewieranie dzieci, powtarzające się nieustannie, będące na porządku dziennym, stanowiące już dziś jeden z ustalonych szkolnych zwyczajów — to czarna plama na jasnem tle tylekroć wysławianej niemieckiej kultury, to uprawnione barbarzyństwo, na które każde serce uczciwe z oburzeniem zadrżeć powinno, a na które my z kamienną spoglądamy obojętnością.

Jakkolwiek jest to ideałem, do którego dąży współczesna pedagogia, sądzę, że absolutne usunięcie kar cielesnych z wychowania choć może nie jest niewykonalnem, jest dość trudnem i nigdzie pewnie w zupełności jeszcze osiągnąć się nie dało. Przypuszczam też, że niema jeszcze obecnie dziecka, któreby się zupełnie bez klapsów było wychowało, ale te, które ich zbyt często nie dostawały, żadnej też nie poniosły szkody. — Sądzę również, że w miarę postępu wychowawczych metod doskonalić się również musi system kar i nagród, dążąc nieustannie do zastąpienia kar cielesnych innemi działającemi na wolę uczniów w sposób szlachetniejszy niż przez postrach i ból fizyczny. Co zaś jest już rzeczą wprost oburzającą w końcu 19-go wieku, to bicie uczniów za naukę jak w powyżej cytowanym wypadku: za niemożność nauczenia się tabliczki mnożenia. Jeśli się dziecko czegoś nauczyć nie może, to przyczyna leży albo w nieumiejętności nauczyciela, albo w wadliwości metody, albo w braku zdolności ucznia, a przyznamy, że żadna z tych przyczyn na odpowiedzialność dzieci spadać nie powinna. Jeśli nauczyciel skarży się na nieuwagę uczniów lub brak zainteresowania się lekcyą, to w większości wypadków sam siebie oskarża. Do niego bowiem należy tak pokierować wykładem, aby umysły dziecinne obudzić, zainteresować i do pracy zachęcić.

Żadne dziecko nie rodzi się z zamiłowaniem do nauki, najmniej zaś możnaby się tego spodziewać po dzieciach klas niższych, w których skłonność i upodobanie do pracy umysłowej dziedziczenie przekazywać się nie mogą.

Mogą się one obudzić w każdem umysłowo

nieupośledzonem i przez fałszywe wychowanie nie zepsutem dziecku, jeśli się dziecko to pod umiejętny kierunek dostanie. Jeśli zaś uczy się ze strachu, pod nieustanną grozą, — kijem lub trzciną do książki napędzane, wówczas może się czasem czegoś mechanicznie nauczyć, lecz nie może nauki polubić, ani jej zrozumieć. Otóż w tylokrotnie sławionych szkołach niemieckich (mówię tu o szkołach elementarnych) nauka bywa na wielką skalę mechanicznie wdrażaną za pomocą trzcinki lub rózgi — a, jak widzimy z przytoczonego przez nas przykładu, — czasami dobierają się nauczyciele do głów swych uczniów własnoręcznie i bynajmniej nie w przenośnem znaczeniu.

O umiejętnym wykładzie, o jasnem, przystępnem i zajmującem objaśnieniu lekcyi w bardzo wielu szkółkach i mowy nawet nie ma. Z zamiłowania i z zawodu poświęcając się pedagogii interesowałam się zawsze tą sprawą i niejednokrotnie zapytywałam dzieci o to, czego się uczą w szkołach. Nigdy na zapytania moje nie odebrałam objaśniającej odpowiedzi. Dzieci umiały przytoczyć czasem powtarzane w klasie wyrazy, nigdy jednak nie umiały ani po polsku, ani po niemiecku określić tego, co było przedmiotem nauki. Pytałam n. p. niedawno dość roztropnego chłopca, jak daleko jest posuniętym w rachunkach — gdy na to pytanie nie mógł odpowiedzieć, zapytałam go, jakie zadania w szkole odrabia, prosząc, aby choć jedno jakiekolwiek na przykład przytoczył. I tu jednakże nie dowiedziałam się niczego więcej, jak tylko, że nauczyciel zadanie na tablicy pisze, potem czyta książkę, a dzieci same rachują. Resztę dośpiewałam w swej duszy: oto po przeczytaniu książki nauczyciel ogląda kajety resp. tabliczki, i za złe zadania wymierza klapsy, wskutek czego mniej zdolni a ostrożniejsi uczniowie spieszą się przepisać zadania, wykonane przez zdolniejszych, nim nauczyciel czytać przestanie. Tym sposobem unikają klapsów i z kilkudziesięciu dzieci zasiadających w klasie postępy robi tylko tych kilka, które się nadzwyczajną bystrością odznaczają. Nie twierdzę, aby to była reguła bez wyjątków, — nie znam wszystkich nauczycieli elementarnych w Księstwie, przypuszczam więc, że między nimi jest kilku pedagogów z bożej łaski, którzy mimo napotykanych na swej drodze trudności usiłują i zdołają rozciągnąć nad umysłami dzieci opiekę, której one od wychowawców wymagać mają prawo. — Że jednakże trudności są wielkie, a bohaterów w świecie nauczycielskim mało, więc szkoła — w większości wypadków — staje się dla dzieci znienawidzonem miejscem codziennych i nieuchronnych utrapień.

Czy nauczycieli winić za to należy?

Tak i nie. — Tak, jeśli nie wnikniemy w rzeczy głębiej i trzymać się będziemy najbliższych, bezpośrednich przyczyn, gdyż obowiązkiem nauczyciela jest dziecko zainteresować nauką i do szkoły je przywiązać. — Nie, jeśli sięgniemy do przyczyn dalszych i uwzględnimy, że w naszych stosunkach spełnienie tego obowiązku jest nieomal niemożliwością.

Bo i jakże ciężkiem jest zadanie nauczyciela!

Znajduje się on w klasie wobec kilkudziesięciu dzieci nie mających ani początkowego wychowania, ani przygotowania umysłowego i zmuszony jest uczyć je, kształcić, rozwijać, wiadomościami zbogacać, choć zrozumiałym dla nich językiem mówić nie może, a często i nie umie. — Gdyby nauczyciel był Polakiem, polska szkoła i język wykładowy — to i tak zniżenie się do umysłów prostych, ciemnych i dziecinnych, dobieranie jak najjaśniejszych, jak najzrozumialszych dla nich zwrotów i zdań, rozbudzenie ich ciekawości, utrzymanie uwagi byłoby pracą ciężką, wielkiego wysiłku umysłu i nakładu energii wymagającą. Wiedzą o tem wszyscy, którzy się nauczaniem trudnili, a zwłaszcza nauczaniem wielkiej ilości małych i z nieinteligentnych sfer pochodzących dzieci. — Praca taka, jak wogóle praca nauczycielska zużywa człowieka, wyczerpuje jego nerwy, osłabia umysł i postarza przedwcześnie. — Gdy jednak do zwykłych trudności nauczycielskiego zawodu przybywa jedna jeszcze i to tak wielka, tak niezwyciężona prawie, nieomal śmiesznością staje się żądanie, aby nauczyciel zadawalniająco ją wykonał i zadaniu swemu w sposób odpowiadający dzisiejszym pedagogicznym pojęciom sprostał. Czyż wobec tego dziwić się można, że jest on zdenerwowany i „u wód na nerwy leczyć się musi?“ Jestto zapewne okoliczność, która słusznie na złagodzenie sądu o jego postępkach wpływa, która go jednak czyni niezdolnym do pełnienia nauczycielskich funkcyi. P. Braun wyjeżdżał do wód, a jednak pomimo kuracyi po powrocie uczniowi włosy z głowy wydzierał. Nie możnaby się dziwić, gdyby nawet wskutek nadmiaru ciężkiej i bezowocnej pracy jego rozstrój nerwowy przeszedł w obłęd chroniczny, czy jednak człowiek rozstrojony nerwowo odpowiednim jest kierownikiem dla umysłów i charakterów dziecinnych? — Nauczyciela usprawiedliwiać można, lecz w takich warunkach powierzać mu dzieci jest zbrodnią. — Gdyby wyroki sądów były wyrazem sprawiedliwości wyższej, a nie wynikiem paragrafów martwych — sąd inowrocławski możeby surowszej nie nałożył kary, może nawet zwolniłby od niej pana B. zupełnie, lecz bezwarunkowo nie pozwoliłby mu napowrót objąć obowiązków nauczyciela i to w tejże wsi, w której zaszedł ów nieszczęsny wypadek.

Wyobraźmy sobie bowiem położenie rzeczy w szkole, po ogłoszonym wyroku. Zdenerwowany nauczyciel wraca do klasy i widzi w ławkach dzieci, które przeciw niemu przed sądem świadczyły, lub których rodzice niekorzystne o nim wydali świadectwo. — Dzieci te zdane są na łaskę i niełaskę zirytowanego nauczyciela, który nie ma dostatecznych powodów, by nad swemi nerwami wobec nich panować. — Strona skarżąca nie zyskała nic — oskarżony nie wiele stracił, a na całym procesie ucierpią najwięcej ci, którym bez kontroli i bez wyroku razy wymierzać wolno.

W takiem położeniu są wszystkie dzieci nasze, a choć w parlamencie i sejmie większość zapewne ojcowie rodzin stanowią, choć między dziennikarzami i korespondentami do gazet znajdują się ludzie mający ojcowskie dla młodziutkich pokoleń uczucia — milczeniem przyjmuje się fakt, że całe zastępy naszych chłopców i dziewczątek codziennie przez kilka godzin drżą ze strachu na widok linii lub trzcinki.

Wobec tego faktu milczymy, ale szeroko i długo zastanawiamy się nad tem, czy te nieszczęsne malcy socyalistami nie zostaną! A cóż, gdyby się stały kalekami, idyotami, gdyby ciągły strach zrodził w ich duszach podłość, ciągle ukrywany wstręt — nienawiść i mściwość?

To, że niecny system szkolny krzywi, paczy, kaleczy umysły i charaktery, że zdolności tępieją, że zarody szlachetnych uczuć idą na marne, to nam jest obojętne; my obawiamy się tylko przewrotu — bo — bądźmy nareszcie szczerzy — nie o dzieci polskie, nie o ich rozwój i szczęście — nie o szkołę — lecz o nasze własne bezpieczeństwo nam chodzi.

Dzieci żadnej nie doznają od społeczeństwa opieki, nie mają wśród nas przyjaciół ani życzliwych. — Gdybyśmy o dobro ich dbali, podstawą naszych interpelacyi i zarzutów, byłoby słuszne, naturalne, konieczne żądanie, by każdy nauczyciel elementarny z uczniami swemi porozumieć się mógł bez pomocy laski i trzciny. — Dla tego też wymagać mamy prawo, jeśli nie wolno nam marzyć o polskim w szkołach ludowych wykładzie, by 1) nauczyciel dzieci polskich po polsku mówić umiał, 2) by przynajmniej w niższych oddziałach dzieciom, które niemieckiego języka sobie nie przyswoiły, po polsku objaśnień udzielał, 3) by tylko wyjątkowo za grubsze wykroczenia wolno było karać dzieci cieleśnie, nigdy zaś za niemożność nauczenia się lekcyi, bo kara wymierzana w takich razach jest tylko zemstą nauczyciela za jego własne niedołęztwo.

I. Moszczeńska.



WŁADYSŁAW JAŻDZEWSKI.

(Wspomnienie pośmiertne.)

Wielkopolska straciła znów jednego z przedstawicieli tej starszej generacyi, która nie zamknięta w ciasnym kole zawodowych zajęć krzątała się pilnie około rozbudzenia naukowego życia na jałowej ziemi poznańskiej. Władysław Jażdzewski urodził się 29 sierpnia 1835 roku w Poznaniu. Tam ukończywszy studya przygotowawcze w gimnazyum Św. Maryi Magdaleny, udał się na uniwersytet berliński i wrocławski, gdzie poświęcił się nauce prawa i w r. 1862 patent asesorski uzyskał. Po dziesięcioletniej tułaczce w niemieckich miasteczkach Bleichrode i Nordhausen, gdzie w charakterze adwokata i notaryusza na chleb zarabiał, i po odbyciu dwóch kampanii wojennych w 1866 i 1870-71 roku, uzyskał wreszcie upragnioną translokacyę do Poznania i wkrótce w rodzinnem tem mieście rozwinął energiczną działalność obywatelską i naukową. Władysław Jażdzewski w młodych już latach z zamiłowaniem trudnił się archeologią, gromadząc za grosz zaoszczędzony obfite i cenne zbiory z zakresu numizmatyki. Za jego inicyatywą zawiązała się w r. 1885 sekcya archeologiczna w Tow. Przyjaciół Nauk, a wysadzona z tej sekcyi komisya rozpoczęła niebawem wydawnictwo „Zapisków archeologicznych“.

Naukowe to czasopismo redagowane przez Władysława Jażdzewskiego, radzcę dr. Koehlera, dr. B. Erzepkiego i dr. K. Szulca ukazało się tylko w 5 zeszytach zaopatrzonych w litografowane tablice, ale, mimo krótkiej egzystencyi swojej, zasłużyło się dobrze publikacyą wielu ciekawych przyczynków z zakresu archeologii. Z prac Władysława Jażdzewskiego, umieszczonych w „Zapiskach“, wymieniamy:

Zeszyt I. a) Kluczewo, powiat szamotulski. b) Szeląg pod Poznaniem.

Zeszyt II. a) Bytkowo, powiat poznański. b) Sulmierzyce, powiat odolanowski. c) Gród w Trzeku, powiat średzki. d) Wykopalisko monet średniowiecznych z pod Szeląga pod Poznaniem.

Zeszyt III. a) Wyspa na Lednicy, pow. gnieźnieński. b) Zapinki z dwoma i trzema wałkami z pod Kalisza. c) Szczątki fibul Italskich, znalezionych w Gorszewicach, w powiecie szamotulskim. d) Siekierka żelazna z Biezdrowa, pow. szamotulski.

Zeszyt V. Wykopaliska denarów z wieku X—XI w Poznańskiem.

Oprócz rozpraw powyższych ogłosił ś. p. Władysław Jażdzewski cenną pracę w języku polskim i niemieckim pt.: „Wykopaliska jarocińskie a mianowicie monety Bolesławów czeskich. Poznań 1879 r.“, a na posiedzeniach Tow. Przyj. Nauk odczytał kilka ciekawych dysertacyi, z których zasługują na wyczczególnienie następujące: a) O paleniu ciał umarłych u Słowian północnych i zachodnich w wieku VI po Chr. i następnych aż do zaprowadzenia chrześcijaństwa. b) Opis złotych przedmiotów z czasów przedhistorycznych. c) O autentyczności wykopalisk mnikowskich. d) O charakterze wykopalisk po prawym brzegu Wisły. e) O monetach Bezbraima, także Ottonem zwanego, syna Bolesława Chrobrego.

Wszystkie prace ś. p. Władysława Jażdzewskiego odznaczały się wielką ścisłością i wiedzą, jednając mu uznanie takich powag naukowych jak Dannenberg i Menadier, z któremi go ścisłe łączyły stosunki. Zważyć zresztą wypada, że przed Jażdzewskim archeologia wielkopolska odłogiem leżała, bo z obfitej tej skarbnicy czerpali zaledwie doryweczo Feldmanowski, Albin Kohn, ks. kan. Dydyński i zasłużony a pó-

źniejszemi pracami dobrze zapisany w literaturze dr. Koehler. Jaždżewski jednak pierwszy gorliwością swoją dał pohop do głębszych i szerszych badań, powołując do życia sekcyę archeologiczną, zamienioną później w wydział archeologiczny Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

To też, gdy choroba nieuleczalna przed kilku laty położyła kres naukowej działalności śp. Wł. Jażdzewskiego, towarzysze jego pracy podjęli znowu, aczkolwiek w innej formie, dawne wydawnictwo. Po zgonie „Zapisków" ukazał się pod sumienną redakcyą dr. Koehlera i dr. Erzepkiego: „Album przedhistorycznych zbiorów Tow. Przyj. Nauk". Pierwszy zeszyt tego pomnikowego wydawnictwa, redagowanego w języku polskim i niemieckim, zyskał sobie głębokie uznanie świata naukowego, a drugi zeszyt, który obecnie jest w biegu, utrwali niezawodnie korzystną opinię o archeologicznych bogactwach polskich prowincyi i badaniach naszych w tej tak długo odłogiem leżącej dziedzinie. Dodać tu jeszcze wypada, że „Zapiski" ukazały się również w języku niemieckim w przekładzie i nakładzie Wł. Jażdzewskiego. Niezmordowany ten archeolog bowiem posiadał ambicyę olśniewania obcych narodów bogactwami wielkopolskiej archeologii, a nadto przez całe życie walczył z opinią, rozsiewaną przez Niemców, że Słowianie dopiero w wieku V do dzielnic naszych przybyli i wyparli Niemców tu bytujących.

Na zakończenie tego krótkiego szkicu naukowej działalności ś. p. Władysława Jażdzewskiego podnieść należy, że pisywał jeszcze to i owo w „Wiadomościach archeologicznych" T. Ziemięckiego i kilku czasopismach niemieckich.

Szkoda człowieka! Zdziałał wiele, a plon pracy byłby niewątpliwie obfitszy, gdyby ciężka choroba od lat kilku nie toczyła organizmu jego. Pozostawił prześliczne zbiory zabytków archeologicznych a mianowicie monet, które prawdopodobnie w drodze darowizny lub kupna przejdą na własność Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Władysław Matlakowski.

(Wspomnienie pozgonne.)

Nie wszystkie żałobne karty są dla pozostałych przy życiu istotnie żałobne. Dla wielu nieboszczyków mamy zdawkowy smutek, mamy płytkie westchnienia, które nie płyną z serca, mamy sztucznie złożone wyrazy, mamy konwencyonalne kiry. O tę nieszczerość nie należy podejrzywać smutku, jaki w szerokich kołach polskiego społeczeństwa obudziła śmierć dr. Władysława Matlakowskiego. Że był znakomitym chirurgiem — to jeszcze nie cały powód do żalu; że był utalentowanym pisarzem — to również jeszcze nie wyczerpuje całej jego wartości. Bo obok tych sił i zalet był zacnym człowiekiem, był duszą czystą, niezmiernie czułą, tak czułą, że aż nienaturalną w zawodzie, który niemal wymaga chłodu i bezwrażliwości. Natura dziwnie czasem łączy przeciwieństwa, które powinnyby wyłączyć się wzajemnie. Chirurg, a więc, zdawałoby się, człowiek, posiadający niższą temperaturę krwi, grubsze nerwy, objawia zapał wybuchliwy, wrażliwość subtelną, upodobania artystyczne, prezyę w swych myślach i uczuciach. Takim był Matlakowski.

Do grobu jeszcze za młody, ale dla życia już za słaby, dotknięty chorobą piersiową od lat kilku przestał pracować i dogasał w Zakopanem i innych miejscach leczniczych. Odcięty od pola właściwej swej pracy, zajmował się studyami nad budownictwem tatrzańskiem, Shakespearem itd. Wydał nawet książkę o stylu zakopańskim, która może grzeszy nadmiarem uwielbienia dla przedmiotu, ale zarazem świadczy o wielkiej przenikliwości i gruntowności umysłu. Ocena głównej lekarskiej działalności zmarłego nie do nas należy. Jakikolwiek wszakże wypadnie sąd nauki o chirurgu i pisarzu, tylko szczery żal odezwie się o człowieku.

KRONIKA GALICYJSKA.

(Arystokracya żyje i działa. — Wyścigi. — Cykliści. — Oświata ludu. — Nekrolog „Świata".

Przez parę ubiegłych tygodni arystokracya nasza wysunęła się na pierwszy plan działalności publicznej, a wysunięcie się to było tak potężnem, iż dzienniki wszelkich odcieni (może z małym wyjątkiem) notowały skwapliwie czyny senatorskich potomków. Okazyą do tych czynów były wyścigi krakowskie i lwowskie, które w Krakowie trwały od 20-go do 23-go, a we Lwowie od 26-go do 30-go czerwca. „Zwycięstwo (pisał jeden z dzienników) i powodzenie stajni Tarnowskich z Chorżelowa wywoływały wrażenie piorunujące". „Wygrana Antipiryny Baworowskiego (pisał inny dziennik, a powtarzam go dosłownie) przemówiła żywo do uczuć narodowych". Do tychże uczuć przemówiły i Satanella Józefa Potockiego i „Myown" Stanisława Siemieńskiego, a co się tyczy Aldony hr. Brzozowskiego, to ta od razu wykopała nogami swemi grób dla sławy Aldony mickiewiczowskiej. Oprócz tych czynów, których wyliczenie zupełne przekroczyłoby ramy mej korespondencyi, arystokracya nasza dała jeszcze inne dowody zrozumienia swego stanowiska. Hr. Roman Potocki dał trzy wielkie obiady w Grand hotelu krakowskim, hr. Stanisław Tarnowski podejmował przybyłych świetnym rautem, ks. ks. Radziwiłłowie urządzili wspaniałe przyjęcie z iluminacyą parku w Balicach. O tem ostatniem przyjęciu wspominają dzienniki konserwatywne z polotem poetycznym i z zapałem trudnym do opisania. Oto szczypta kadzideł „Czasu": „Gdy świtać poczęło, ogród rosą skąpany jak senne wyglądał marzenie, a różowemi blaskami jutrzenki oświecony, wśród mgieł porannych wynurzał się w oddali Kraków, strzelając igłami swych wieżyc niby zaklęte miasto z fal jeziora Świtezi. Cudnem było to zakończenie krótkiego krakowskiego sezonu wyścigowego... przekonało ono nawet wybrednych cudzoziemców, że i u nas są godne zachodniej Europy wiejskie siedziby, i że gościnność w nich litewska, hiszpańskim urokiem otoczona, zagraniczne przyjęcia w niejednem przewyższyć zdoła". Prowadzeniem tańców zasłynęli hr. Ksawery Orłowski, hr. Adam Zamoyski, pan Jan Gorajski. Nie wiem, czy się odznaczył, ale brał udział w tym karnawale i hr. August Potocki, który, jak donoszą dzienniki, sprzedaje obecnie dobrowolnie wielkie swe dobra na Litwie Moskalom. We Lwowie cudzoziemcy i niecudzoziemcy zachwyceni znów byli czwórką hr. Lewickiego-Siemieńskiego, potomka dwóch wielkich zapewne rodów, ale których czynów przez zapomnienie nie napisała historya. Wreszcie w zjeździe cyklistów krajowych i zagranicznych w Krakowie odegrał wybitną rolę prezes klubu krakowskiego hr. Mycielski.

Swoją drogą ten zjazd cyklistów nie był właściwie tworem arystokracyi lecz demokracyi, której szlachetna ambicya podrażnioną została zwycięstwami i sławą kopyt końskich arystokratycznego pochodzenia. Kraków zaszczycony został pobytem w swych murach najbieglejszych mistrzów w sztuce szybkiego przebierania nogami. Taki zjazd podnosi ducha, uczy i oświeca. Człowiek ma sposobność poznać wiele znakomitych osobistości i zapamiętać ich nazwiska, przez co naturalnie ogół cywilizuje się i bierze choć pośredni udział w postępie europejskim. Ze wstydem przyznam się, że nie wiedziałem n. p. nic o istnieniu p. Beyschlaga, dopóki nie przeczytałem w jednym z dzienników, iż „nawet taki Beyschlag" raczył przybyć do Krakowa. Przybyli także p. Mahner, kapitan jazdy niemieckiego związku cyklistów, p. Gebauer i Hausdorf z Katowic, panowie Küchler i Scheiber z Wiednia, a z Warszawy panowie Neuding, Fertner, Lepert oraz inni, równie po polsku brzmiących nazwisk cykliści. Naturalnie, iż główne nagrody pobrali tacy Beyschlagi i Hausdorfy; dzienniki rozpisują się nad tym zjazdem, poświęcają mu całe łamy, twierdzą, iż „mieszkańcy Krakowa z biciem serca oczekiwali na corso cyklistów", że „klub krakowski za ten zjazd pozyskał sobie trwałą sympatyę wszystkich mieszkańców". I nie o cyklistów im też chodzi, kiedy piszą o nich, lecz o nasze dziennikarstwo, które z lekkiem sumieniem obałamuca opinię publiczną. Wolno ludziom bawić się według woli, wolno zbierać marki pocztowe, wolno założyć klub puszczających bańki mydlane, wolno założyć stowarzyszenie grających na drumli, wolno też jeździć na bicyklach i rowerach i urządzać sobie na nich wyścigi. Ale co ogół, co społeczeństwo obchodzić mogą takie zabawki, ażeby traktować na seryo i rozgłaszać światu najdrobniejsze szczegóły takich zabawek i nazwiska nieciekawych ich bohaterów. O pracy głów i umysłów, nieraz nawet genialnych, piszą się w dziennikach naszych suche wzmianki (i to jeżeli się piszą), a o dziecinnym sporcie, uprawianym prawie bez wyjątku przez ludzi słabych umysłowo a silnych tylko w nogach, drukują się całe artykuły i feljetony. Rower ma znaczenie bez wątpienia jako środek komunikacyjny i temu jego praktycznemu znaczeniu nikt nie zaprzeczy, ale sport rowerowy to czysty dziwoląg, a co najwyżej zabawka, na którą pobłażliwie spoglądać można, ale której nie należy reklamować, zwłaszcza w społeczeństwie, mającem tysiące ważniejszych zadań, niż imponowanie suchemi łydkami, pajacowatemi ubiorami i świecącemi blaszkami, które pokrywają piersi nożnych znakomitości.

Gdybyż to dziennikarstwo nasze popierało choć w połowie tak jak cyklistów sprawy ważne, uczciwe, mające często związek najbliższy z naszą narodową przyszłością. Ale gdzietam! Oto na ostatniem walnem zebraniu Towarzystwa oświaty ludowej skarżył się publicznie Komitet, że ze strony dziennikarstwa nie otrzymuje żadnego poparcia — a przecież oświata ludu to opoka, na której ma stanąć kościół naszego narodowego bytu, naszego odrodzenia się, zmartwychwstania. Nic dziwnego, że przy braku poparcia Towarzystwo chyli się ku upadkowi. Każdy może być jego członkiem, kto złoży na cały rok składkę w kwocie 1 złr. — a wstyd powiedzieć, że w całej Galicyi znajduje się zaledwie siedmiuset ludzi, poczuwających się do tego obowiązku, do złożenia tej maleńkiej wkładki, nie obarczającej nawet ludzi biednych. Cyklistów mamy w Galicyi z pewnością kilkanaście tysięcy, na wyścigi szkap wyrzucamy corocznie z pół miliona. ale na poparcie oświaty ludowej pieniędzy nam brakuje. Galicya ma 7 milionów mieszkańców, a więc zaledwie jeden na dziesięć tysięcy jest członkiem Towarzystwa oświaty ludowej. Niczyja to wina, tylko dziennikarstwa. Ono pochwalając i reklamując zbytki. zabawy i błazeństwa, a milcząc o wielce ważnych sprawach (nie mówię już o macoszem traktowaniu literatury i sztuki) przygotowuje grunt do tych niezdrowych stosunków, wpływa na społeczeństwo ujemnie w całem znaczeniu tego słowa.

Wspomniałem o literaturze, a więc wypada napisać nekrolog „Światowi". Nekrolog ten, to wyborna ilustracya naszych stosunków. Entuzyazmujemy się dla koni i Beyschlagów, a nie możemy utrzymać jednego pisma poświęconego literaturze i sztuce. Nie mówię już o ciągle pojawiających się efemerydach, które po kilkunastu numerach znikają z powierzchni, ale były przecież poważne usiłowania, aby choć jedno pismo literackie wychodziło na ziemi galicyjskiej. Zdawałoby się, że nawet sprzyjają temu warunki, wszystkie bowiem pisma literackie warszawskie, jako wychodzące pod obuchem cenzury, musiałyby w Galicyi ustąpić pierwszeństwa pismu miejscowemu, niczem nieskrępowanemu, mogącego poruszać sprawy narodowego znaczenia, swobodnie rozprawiać o patryotycznych celach i zadaniach, traktującemu wreszcie z natury rzeczy kwestye bliżej obchodzące naszą prowincyę, nasz ruch literacki, naukowy i artystyczny. Przed 20-tu laty założył J. Rogosz „Tydzień"; pismo ruchliwe, obszerne, zręcznie redagowane, mające dobrych współpracowników; z niego Galicya poznała Sienkiewicza, a to samo już powinno było wystarczyć, aby pismu byt zapewnić. Mimo jednak wysiłków, mimo oddania pisma Biernackiemu (Rodociowi) i Adamowi Bartoszewiczowi, który z nowym kapitałem do niego przystąpili, „Tydzień" upadł po kilku latach istnienia.

Przez dwa czy przez trzy lata wychodził również mający wiele stron dobrych „Ruch literacki“, wydawany przez Gillera. Piszący te słowa przez półczwarta roku walczył, aby wydawanemu przez niego „Przeglądowi literackiemu i artystycznemu“ zjednać choć taką liczbę prenumeratorów, któraby wystarczyła li tylko na pokrycie kosztów druku i papieru. Wszystkie te usiłowania spełzły na niczem. Zdawało się iż „Świat“ jako pismo ilustrowane uczyni wyłom we wstręcie Galicyi do literatury. Wydawca jego i redaktor Sarnecki posiadał rozliczne stosunki, które mu zapewniały poparcie w tych sferach, na jakie inni wydawcy liczyć nie mogli. Niezwiązany z żadnym obozem, potrafił dokazać cudu, którym była ciągła, nieustanna, olbrzymia reklama dla pisma we wszystkich dziennikach wszelkiego odcienia. Od czasu do czasu uzyskiwał nawet małe subwencye, a w zeszłym roku zrobił swój „Świat“ organem urzędowym Wystawy krajowej. Sam przyznaje w słowie pożegnalnem, że artyści i literaci bardzo często dawali mu swoje prace całkiem bezinteresownie. Można powiedzieć, iż nie było jednej wybitniejszej osobistości literackiej lub artystycznej, której nazwiska nie spotkałoby się pod artykułami lub rysunkami „Świata“. To też było lat parę takich, w których „Świat“ miał prawo twierdzić, że nie ustępuje żadnym innym ilustrowanym naszym wydawnictwom. Dodajmy do tego, że redaktor kładł ogromny nacisk na stronę zewnętrzną wydawnictwa, że łożył na piękne okładki, dobierał najpiękniejszy papier, a nadzwyczajne dodatki artystyczne bywały często ostatnim wyrazem sztuki reprodukcyjnej. I wszystko to na nic. Najwyższa cyfra prenumeratorów dosięgła do ośmiuset, z której to wyżyny spadła na pięciuset. Wyczerpawszy wszelkie zasoby, wszelką możność prowadzenia pisma, ustąpił Sarnecki z pola, a dzieje „Świata“ nie zachęcą zapewne nikogo do dalszych prób w tym kierunku.

K. Bartoszewicz.

PROTEST*)

akademików Polaków wrocławskich.

„Wer die Wahrheit weiss und saget sie nicht,
Wahrlich, der ist ein erbärmlicher Wicht“.

Oto słowa, któremi prof. Dahn zakończył swego czasu szereg prelekcyi z filozofii prawa, zachęcając młodzież akademicką, żeby zawsze z otwartą przyłbicą stawała mężnie i śmiało w szranki, krusząc kopie za wszystko, co p r a w d z i w e, d o b r e i p i ę k n e. Opowiadano sobie jakie wrażenie sprawiło to serdeczne przemówienie wtenczas na słuchaczach, którzy zwyczajem akademickim gromkiem tupaniem i frenetycznym nieomal aplausem żegnali audytoryum opuszczającego profesora.

Któż zatem, a tem mniej prof. Dahn, za złe poczyta akademikom wrocławskim polskiej narodowości, że w dniach ubiegłych stanęli zwartym szeregiem w obronie „prawdy“, — że otwarty i głośny podnieśli protest w obronie pogwałconych praw uniwersyteckich, podnosząc z godnością i rycerskością rękawicę, rzuconą im przez kolegów Niemców. Wiedzieli oni, że „prawda“ po ich stronie, że trza było wypowiedzieć ją, chcąc uniknąć zarzutu nikczemności. Wiedzieli oni zapewne dobrze, że nie zapobiegną przez to ukonstytuowaniu się towarzystwa akademików Niemców pod sztandarem HKT., wiedzieli, że protest ten przebrzmi może jako głos na puszczy, bo „il y a de juges à Berlin“ to płonny nieraz frazes dla nas, a Themis niemiecka w podobnych razach uchyla zwykle rąbek przepaski swej na oczach i gotowa niedoważyć, ale mimo to spełnili swój obowiązek narodowy. — Jeżeli posłowie nasi od lat tylu już powołują się na artykuł 4. konstytucyi pruskiej, opiewający, że „każdy poddany pruski wobec prawa jest równym“ — dla czegoż nie mieliby powoływać się akademicy Polacy na statuty uniwersyteckie, wykluczające wszelką politykę? — Nie dziw, że zawrzało wśród nich jak w ulu, że nie chcieli być jak owe jagnięta, które to nie śmią ani zabeczeć, czując nóż oprawcy pod gardłem.

W całej tej sprawie osoba prof. Dahna główną odgrywa rolę; on to bowiem z powagą druidy zainaugurował ów t h i n g germański, zanosząc modły gorące, by W u o t a n odwrócić chciał niebezpieczeństwo, grożące kresom wschodnim wielkiej ojczyzny zalaniem ich słowiańszczyzną, on to zwracał w przenośni łatwo zrozumiałej uwagę na pobratymczych Czechów, którzy w krótkim czasie tak silnie spotężnieli narodowo, że w Pradze li tylko czeski język rozbrzmiewa, a Niemców na ulicy po niemiecku mówiących czynne spotykają zniewagi. Niechaj się tego nie obawia szanowny profesor, żeby Polacy n i e z a c z e p i e n i czynne dawali dowody krewkości swej narodowej — lecz niechaj też nie zapomina, że jako Niemcy zatonąć nie chcą „w p a p c e m i ę d z y n a r o d o w e j“, tak też i Polacy nie myślą amalgamować się z innymi żywiołami, — że jak Niemcy tak też i Polacy stać będą na straży tego, co im się należy. — Zaznaczył podobno D a h n, że postępowanie ruchu antipolskiego nie jest żadnym wynikiem szowinizmu pruskiego, tylko prawem przyrodzonym. Trudno nam zaliczać prof. Dahna jako uczonego, którego zadaniem wszystkiemu nadawać system pewien logiczny, — do zwykłych podżegaczów, którzy roznamiętniwszy się przy kuflu piwa z zaciekłością wszelką wodze puszczują owemu „furor teutonicus“. Nie wchodzimy w to, czy „towarzystwo studentów niemieckich“ po trzeźwemu czy też przy piwnym stole plan ów powziętło; — dziwić się jednakże należy, że tak rektor pozwoleniem swojem na zebranie jako też prof. Dahn czynnym udziałem polityczną urządzili arenę z katedry wszechnauk.

Wiemy, kto jest tym Wuotanem, do którego gorące słał modły prof. Dahn, lecz i bogowie nie wieczni, jak niesie mitologia germańska.

Wrzał temu niedawno las saski odgłosem tysiącznych studenckich rapierów na cześć i chwałę żelaznego bożka — czy zabrzmi raz wtóry?

Przywykliśmy podziśdzień każdy objaw zajęcia się sprawami narodowemi naszemi i każde śmielsze wystąpienie w obronie ich poczytywać za czyn bohaterski, za wielkie zasługi położone około dobra ojczyzny itd. itd. — Kadzimy sobie pod nosy wonną mirą czczej adoracyi wzajemnej, nie pomni, że broniąc tego, co nasze, nie czynimy nic więcej jak nasz najświętszy obowiązek. — Wyleczmy się z choroby tej, nim stanie się chroniczną, i drogą dziedziczności przejdzie z pokolenia na pokolenie, toczące je wrzodem próżności samolubnej.

Jakkolwiek zatem najserdeczniejszy oddźwięk w sercach polskich znalazło wystąpienie młodzieży naszej wrocławskiej, nie przyznajemy jej więcej nad to, że s p e ł n i ł a s w ó j o b o w i ą z e k.

Alastor.

*) Bliższe szczegóły o proteście polskich akademików przeciw studenckim Hakatystom w Wrocławiu znajdą czytelnicy w rubryce „Przegląd prasy polskiej“. Przyp. Red.

NA WYŁOMIE.

(Feljeton buduarowy. — Do szturmu! — Odkryte karty. — Rola duchowieństwa w życiu publicznem. — Zjazd kółek śpiewackich. — Nie chcemy dyktatury.)

Poruszam dzisiaj jednę z najdrażliwszych spraw prowincyi naszej. Za najlżejszem dotknięciem tej kwestyi wysuwają się wężowe języki i syczą. A czasem ukąsi ząb jadowity, czasem grom błyśnie, złamane świece padają na głowę i słowo „Mason“ huczy jak echo trąby ostatecznej. Wiem o tem wszystkiem i wolałbym na wzór buduarowych feljetonistów prowadzić perełkową gawędę na temat... no! n. p.: Co zrobić powinien O n, gdy zdradza O n a? lub: czy Marynia Połaniecka jest wzorem kobiet, czy nie jest? lub wreszcie: Czy Vinicius pójdzie za Lygią, czy Lygia za Viniciusem? Cóż chcecie? Pływać po mieliznach literackich ogólników, z wymownym uśmiechem powtarzać Bourgetowskie sentencye, rozcinać najzawilsze kwestye salonowym sztyletem dowcipu, rzucać się na oślep w głębiny najpoważniejszych zagadnień i wylatywać z nich jakiemś elastycznem salto mortale, — to wdzięczna praca, rozkoszne zadanie. Tłumy żonglerowi pióra zapłacą grzmotem oklasków, a jedyną karą to lekkie uderzenie wachlarza z rąk pięknej kobiety, gdy ten „Nieznośny“ zbyt śmiały dwuznacznik rzuci jej pod nogi.

Ale „na wyłomie!“ to tak strasznie brzmi jak echo walki śmiertelnej, gdzie niema pardonu. Cóż robić? P a r i s v a u t l a m e s s e! W rój szerszeni rękę moją kładę.

W jednym z najświeższych numerów „Kuryera Pozn.“ ukazał się artykuł, poświęcony zjazdowi Kółek śpiewackich w Gnieźnie, a dawno już prądy nurtujące Księstwo nie ujawniły się z równą siłą i równą otwartością. Oto próbka „Kuryerowych“ dążeń:

„Podniosły, poważny i niewymownie serdeczny nastrój całej uroczystości przypisać należy b e z w a r u n k o w o t e m u, że odbyła się ona p o d a u s p i c y a m i z a c n e g o d u c h o w i e ń s t w a n a s z e g o, że więc nie brakło jej kardynalnego warunku powodzenia — błogosławieństwa Niebios.

Dobitny znowu mieliśmy dowód, że tam, gdzie Kościół św. błogi swój wpływ wywierać może, tam też niezakłócona panuje harmonia, bo serca tam i umysły pogodne, niezakłócone poruszeniami namiętnostek ludzkich; a gdy tak w oczach serdecznych śpiewaków pogodna jaśniała dusza, to i niebo przecudną przez cały ciąg uroczystości śmiało się pogodą“.

. . . Pokazało się w niedzielę wyraźnie, k t o n a j t r o s k l i w i e j p i e l ę g n u j e p i e ś ń r o d z i m ą i ku jakim celom ona służy: z radością widzieliśmy, iż nikt inny, jeno c z c i g o d n e d u c h o w i e ń s t w o j e s t f i l a r e m n a s z y c h K ó ł e k ś p i e w a c k i c h, z radością nie mniejszą stwierdzić możemy, iż rozwój swój świetny zawdzięczają Kółka nasze przeważnie tej okoliczności, że pielęgnują głównie pieśni zbożne, że członkowie ich niosą dar głosu, którym ich stwórca obdarzył, znowuż na chwałę Panu nad Pany“.

Cytując słowa powyższe, poczuwam się do obowiązku zaznaczyć tu przedewszystkiem, że nie należę bynajmniej do owych liberalnych alarmistów, którzy na widok sukienki duchownej uderzają natychmiast w okrzyk piorunowy: „Precz do kościoła, precz z życia publicznego!“ Przeciwnie, — prawdziwemu wolnodumcowi obcą jest nietolerancya, — uzna on obywatela w każdym człowieku i w każdym uczciwym pracowniku powita brata, bez względu na to, czy go zdobi siermięga, surdut czy rewerenda. W artykule „Kuryera“ jednak inna jest tendencya. Tu rzucono zuchwałe twierdzenie, że

1) tylko takie prace publiczne liczyć mogą na „błogosławieństwo niebios“, których kierownictwo spoczywa w rękach duchowieństwa;

2) że kongres gnieźnieński zawdzięcza „bezwarunkowo“ powodzenie swoje „auspicyom“ kapłanów;

3) że duchowieństwo nasze jest „filarem Kółek śpiewackich“.

Pierwsza prawda, którą „Kuryer“ do wierzenia podaje, to charakterystyczne zdemaskowanie ukrytych tendencyi, snujących sieci swoje po kraju. Tu już nie słychać żądania, aby kapłan jako równy z równym stanął w szeregu na szańcach, lecz dźwięczy komenda, aby naród z pokorą uznał dyktaturę kleru, aby ster życia publicznego powierzył duchowieństwu, bo w przeciwnym razie niebo poskąpi mu błogosławieństw swoich. Jest zatem groźba! Maluczko, a posypią się straszne legendy o Dantejskiem piekle i gdyby tak niebo chciało pożyczyć gromów swoich, trądów i smoków ognistych „Kuryerowym“ panom, nie wątpię ani chwili, że wypuściliby wszystkie furye gniewu Bożego na stronnictwo „Przeglądu“. Ale snać innym jest rozum nieba niż rozum „Kuryera“, gdy zamiast piorunów zsyła uśmiechy błękitów i słońca tam nawet, gdzie na czele życia publicznego

stoją ludzie bez rewerendy, tam, gdzie bez „auspicyi duchowieństwa“ pieśń polska skarży się, płacze lub tryumfuje. Bo wybaczą mi koledzy z św. Marcina, ale w imię dewizy naszej „Bez obłudy“, zaprotestować muszę przeciw twierdzeniu, że zjazd gnieźnieński odbył się „pod auspicyami duchowieństwa“, że „Kościół św. błogi swój wpływ“ na zjazd gnieźnieński wywierał, że „kapłani są filarami naszych Kółek śpiewackich“. Rozdzielmy cześć sprawiedliwie i powiedzmy otwarcie: Kongres gnieźnieński odznaczał się charakterem świeckim, związek Kółek śpiewackich nosi charakter na wskroś świecki, do wydziału należą wyłącznie osoby świeckie, zjazd urządzili obywatele świeccy, w naradach brali czynny udział tylko obywatele świeccy, ćwiczenia odbywały się pod batutą osób świeckich, prezesami są z minimalnemi wyjątkami obywatele świeccy, w jury z jednym wyjątkiem zasiadały osoby świeckie. A mimo to niebo nie poskąpiło promieni swoich i pieśń polska odniosła tryumf wspaniały. Zasługa to w pierwszym rzędzie pracowitego wydziału z mecenasem Czypickim na czele, w drugim rzędzie dzielnych kierowników naszych Kółek śpiewackich, w trzecim rzędzie gościnnego obywatelstwa z gniazda białych orłów. Udział duchowieństwa w pracach kongresowych ograniczył się na odprawieniu mszy św., poświęceniu sztandaru i łaskawych informacyach udzielanych gościom przy wizytacyi tumskich osobliwości. Cześć i za to kapłanom! Ale bądźmy sprawiedliwi i wieńcem wawrzynu temu skronie oplećmy, kto na niego zasłużył. Nie mieńmy tych „filarami“, którzy niemi nie są, nie śpiewajmy o „auspicyach“, których nie było, o „błogim wpływie“, który nie istniał. Kardynalnym warunkiem powodzenia w każdem działaniu publicznem jest praca uczciwa i duchem narodowym owiana, ale kłamie ten, kto mówi, że błogosławieństwa swego niebo tam poskąpi, gdzie niema duchownej hegemonii. My cenić umiemy tych pracowników kościoła, którzy stają między nami jako pionierzy myśli narodowej, ale dyktatury kleru uznać nie możemy, bo równe są wszystkie stany, równe ich prawa, nie ma przywilejów. Któż to zresztą powiedział, że dla interesów Kościoła i ojczyzny nigdy nie zjawi się chwila dążeń rozbieżnych? Któż może zaręczyć, że dwie siostry, niedawno jesze połączone uściskiem miłości, nie staną jutro do walki? Któż wreszcie powie, że sługa Kościoła w krytycznej chwili palącego „aut-aut“ zmieni się w sługę ojczyzny?

Więc pójdźcie do nas, służebnicy Chrystusa, my was otwartemi witamy rękami, — ale nie żądajcie, by ster spraw narodowych w waszych spoczywał rękach, nie rzucajcie kamieniem potępienia tam, gdzie duchowne wpływy nie zdobyły sobie dowództwa, nie wołajcie, że łaska Boga samego tam tylko spływa, gdzie wy jesteście.

Raz nareszcie trzeba śmiało wypowiedzieć ten protest, który drzemie w szerokich warstwach społeczeństwa, tamowany jedynie teroryzmem pewnych koteryi i brakiem cywilnej odwagi, gnębionej systematycznie od lat kilkunastu. Zjazd Kółek śpiewackich jest najodpowiedniejszą chwilą ku temu, bo właśnie przeciw związkowi tych Kółek objawia się jakaś ukryta niechęć ze strony duchowieństwa, przerażonego „świeckością“ wydziału. Jest to coś nieuchwytnego, coś pracującego cichutko za kulisami, ale mimo to oddziałującego niekorzystnie na rozwój centralizacyi. Artykuł „Kuryera“ to kłos z tej gleby wyrosły, to sonda zapuszczone w głębiny opinii publicznej, to przedewszystkiem elaborat suggestywny torujący drogę hegemonii kleru. A że hegemonię taką krok tylko od dyktatury dzieli, o tem świadczy jedno z towarzystw poznańskich, gdzie za wpływem duchownego kierownika ukuto w statutach paragraf, że nieważną jest każda uchwała, chociażby nawet zatwierdzona jednogłośnie, jeżeli ksiądz-patron „placet“ swojego odmówi.

Parlamentaryzm zdeptany, — Roma locuta, causa finita.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Nakładem *„Gońca Wielkopolskiego“* ukazało się drugie wydanie obszernej broszury. śp. Dr. Ludwika Rzepeckiego p. t. „Żywot Mieczysława hr. Halka Ledóchowskiego“. Książka ta nacechowana gorącym patryotyzmem, znamionującym całą działalność obywatelską i publicystyczną przedwcześnie zgasłego autora, a pisana stylem jędrnym i treściwym, jest dotychczas jedynem wydawnictwem jubileuszowem.

* * *

„Monitor“ nr. 14 (lwowski tygodnik polityczno-społeczno-literacki) zawiera: Z nowym kwartałem. — Lewica niemiecka. — Reformy austryacko-galicyjskie. — Strejk ceglarzy lwowskich. — Z kraju. — Nowy prąd w literaturze. — Kobiece wszechnice w Stanach Zjednoczonych. — Feljeton: 1) Z szarych końców, przez Lucyana ze Swirza. 2) Epionoskop.

* * *

Piotr Chmielowski o „Tygodniku wielkopolskim“. W „Zarysie najnowszej literatury polskiej“ znajdujemy wspomnienie, poświęcone jednemu z czasopism poznańskich, które przez lat kilka krzewiło w Księstwie myśl postępową. Podajemy je w skróceniu:

„W r. 1870 powstała w Poznaniu myśl założenia organu wolnomyślnego. Urzeczywistnił ją Edmund Callier, jeograf i starożytnik († 1893), ogłaszając w połowie grudnia 1870 r. próbny numer *„Tygodnika Wielkopolskiego“*. Pragnął on utworzyć jak najszersze grono współpracowników i skupić około tego czasopisma wszystkie bardziej utalentowane umysły polskie. Udało to mu się w znacznej części.... Najczynniejszym spółpracownikiem był koroniarz *Wład. Olendzki*, świeży wtedy wychowaniec uniwersytetów niemieckich, autor dzieła p. n. „Teorye polityczne XVI w.“ († 1894). On przez dwa lata główne nawet miał w swym ręku kierownictwo „Tygodnika Wielkopolskiego“, a jako zapalony wtedy wielbiciel postępu szczepił na gruncie poznańskim płonkę warszawskiego „Przeglądu tygodniowego“, przerabiając, podając w skróceniu lub wprost przedrukowując artykuły z tego czasopisma. Wszystkie kwestye traktowane wtedy przez młodzież w Warszawie, a więc emancypacya kobiet, teorya Darwina, pozytywizm odbijały się i na kartach tygodnika. Tak przetrwał ten organ postępowców do roku 1874. Wtedy objął redakcyę Władysław Chotomski i nieumiejętnem prowadzeniem dobił pismo, które zresztą i dawniej wcale nie pokrywało kosztów wydania, gdyż miało zaledwie 400 płatnych prenumeratorów“.

* * *

Nakładem *Wydawnictwa materyałów do powstania 1863—64* wyszła we Lwowie książka zatytułowana *„Stronnictwo krakowskie o styczniowem powstaniu“*. Praca ta, która w literaturze politycznej zajmie nieposlednie miejsce, jest rezultatem długich narad prowadzonych przez 5 wieczorów w *lwowskiem kole literackiem.* Zasługuje w niej przedewszystkiem na baczną uwagę wszystkich, dla których sprawy publiczne nie są obojętne, dosadna i wszechstronna krytyka programu przyszłych prac Stańczyków. P. Romanowicz z właściwym mu talentem wykazuje wszelkie ujemne strony tego programu i zabójczy pomysł jaki p. Koźmian z Alfredem Szczepańskim narodowi chcą narzucić — rozdziału patryotyzmu na trzy gatunki.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** W ubiegłą niedzielę odbył się we Wiedniu wielki meeting robotników polskich. Zebrani uchwalili rezolucyę, według której demokratyczni posłowie polscy odłączyć się mają od „Koła“ i występować samodzielnie. — Powstanie w Macedonii rozwija się bardzo powoli. Mimo to Turcy wzmacniają bezustannie swoje siły zbrojne. — Pułkownikowi policyi Krausemu, urzędującemu w Berlinie, przesłano paczkę z maszyną piekielną. Paczka zwróciła uwagę urzędników pocztowych, którzy z zachowaniem wszelkich ostrożności otwarli ją i tym sposobem zapobiegli nieszczęściu. Sprawca zamachu nieznany. Cesarz przesłał Krausemu telegram kondolencyjny. — Francuzi odnoszą bezustanne zwycięstwa na Madagaskarze. Jenerał Metzinger zdobył 30 czrrwca wielki obóz Howasów z 470 namiotami.

* **Teatr i muzyka.** „Kuryer Lwowski“ donosi, że Modrzejewska odniosła tryumf wspaniały w roli lady Macbeth na scenie Skarbkowskiej. Artystkę wywołano kilkanaście razy i obrzucono kwiatami. Modrzejewska zabawi jeszcze we Lwowie przez dni kilka i wystąpi w „Deborze“ Mosenthala oraz „Rozwiedźmy się“. — **W niedzielę** 7-go b. m. odbędą się w Urbanowie pod Poznaniem wielkie „Igrzyska Sokołów“, połączone z koncertem, śpiewami chórowemi i loteryą fantową. — Opera w Krakowie cieszy się znacznem powodzeniem. Najwięcej laurów zbierają pani Konarska, pp. Myszuga i Jeromin i panna Strassern. Najświeższa operetka Straussa p. t. „Jabuka“ święci w Warszawie tryumfy kasowe, wytwarzając konkurencyę — pismom humorystycznym. Dzieje się to wszystko za sprawą rozlicznych „wstawek“ kupletowych, które na każdem przedstawieniu odśpiewują tam z nowemi dodatkami, poświęconemi sprawom bieżącym. Słuchacz, prócz właściwej operetki, znajduje na „Jabuce“ śpiewany feljeton, w którym są napomknienia o wyścigu dystansowym, i o panu Salerno di Colonna, i o wystawie metalowej, i o wszystkiem, co w danej chwili zajmuje Warszawianina. Jest to bardzo zabawne i publiczce się podoba — zaciera jednak stopniowo różnicę, jaka zachodzi pomiędzy teatrem a — teatrzykiem.

BIBLIOGRAFIA.

Wincenty hr Łoś. Aktorka. Powieść. Warszawa, 1895.

Wincenty hr. Łoś. Przy naszych dworach. Nowela. Warszawa, 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

Amicus. Ta firma sprzedaje „vinum de vite purum“ I dziw się tu, szanowny panie, że plecie jak Piekarski na mękach, dmąc w dudy wiadome!

Felicya. 1) Przyjęła się w prasie forma „módz“, — poprawnie jednak należałoby pisać „móc“. Pochodzi to od starosłowiańskiego „mogti“, „g“ przed „t“ zmienić się musiało na k, a więc „mokti“, z „mokti“ zaś powstać tylko mogło „móc“, podobnie jak z „nokti“ powstało „noc“. — 2) Należy pisać „być“, nie „bydź“, bo nie pochodzi forma ta od „będę“, lecz od „byti“.

Humorystyka.

Rzecz dzieje się w redakcyi pisma „stojącego na ogłoszeniach“.

Skrzypek, występujący z koncertem dobroczynnym, przynosi bilety gratisowe i prosi o łaskawą wzmiankę. Prośba zostaje wysłuchaną życzliwie i z protekcyjną powagą.

Na odchodnem skrzypek dorzuca: „będę jeszcze prosił o zaznaczenie piękności mego instrumentu, wyszedł on bowiem z rąk Stradivariusa...“

— Co do tego, odpowiada z uśmiechem redaktor — zechce pan Stradivarius porozumieć się z administracyą, nie pomieszczamy bowiem żadnych reklam bezpłatnie.

* * *

Bodaj to praktyczność niemiecka!

Od dawien dawna we wszystkich podręcznikach „dobrego tonu“ zwracano uwagę płci brzydkiej, iż trzymanie rąk w kieszeniach... nie od kamizelki, nie jest bynajmniej szczytem elegancyi i da się porównać jedynie z amerykańskim zwyczajem kladzenia nóg na stole.

Ale cóż tu robić, kiedy znaczna część władzców świata nie studyuje podręczników „dobrego tonu“. Co po przepisach niewykonywanych, co po ideałach nieziszczanych.

Praktyczni Niemcy wymyślili więc środek niezawodny, bo zamiast spuszczać się na propagandę mam, ciotek i podręczników, założyli świeżo Towarzystwo pod nietylko krótką ale skromną nazwą: „Antihandeindenhosentaschenhaltenverein“.

Może u nas pragnąłby kto podobne Towarzystwo założyć? Za skutek nie ręczymy, ale bądź co bądź mielibyśmy więcej jednego prezesa, jednego wice-prezesa i jednego sekretarza, a ponieważ założenie filii byłoby rzeczą wskazaną, a nawet nieuchronną, przeto liczba dostojników kraju mogłaby się olbrzymio powiększyć.

Składki

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Za pośrednictwem pani I. z Moszczeńskich Rzepeckiej 3,50.

„Towarzystwo Przemysłowe“ w Poznaniu 20 m.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 746 marek. Ogłoszenie konkursu nastąpi natychmiast, skoro tylko zbierze się suma 1000 marek.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

P. Kollat z Miejskiej Górki sumę zebraną na zaślubinach p. Bronisławy Skwierzyńskiej w ilości 9,30 m.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 521,20 m.

Sumę powyższą złożyliśmy w Banku przemysłowców polskich, jako centralnem miejscu składek.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 28. Poznań, Niedziela 14. lipca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Z najnowszych dziejów Szląska,

napisał

Szlązak.

(*Dokończenie.*)

Nastąpiła wreszcie owa sławna petycya ludu górnoszląskiego do księcia Biskupa o wstawienie się do rządu za przywróceniem języka polskiego w szkołach, pokryta 126 tysiącami podpisów. Petycya ta spotkała się z silną opozycyą tych właśnie duchownych, którzy w organizacyi centrowej najważniejsze zajmowali stanowisko. Obok tego wszystkiego toczyła się walka cicha, ukradkowa w towarzystwach, w kościele i w życiu codziennem. Prasa centrowa witała z niechęcią lub potępiała z góry każde nowotworzące się towarzystwo polskie, prasa centrowa pierwsza wywołała owo widmo „agitacyi wielkopolskiej“ i straszyła niem nietylko rząd, ale Niemców wogóle. Zakładane przez księży Towarzystwa św. Cecylii rugowały, zakryte odnośnemi przepisami kościelnemi, coraz bardziej śpiew polski z miejskich i wiejskich kościołów, o co naturalnie powstawały gorące polemiki dziennikarskie. W życiu codziennem Niemcy katolicy bojkotowali każdego, kto śmiał się buntować przeciwko wszechmocnej powadze centrum, a księża zaraz takiemu buntownikowi odmawiali prawa nazywania się katolikiem. Wreszcie w końcu r. 1892 wybuchła straszne zacięta walka o „Nowiny Raciborskie“, spowodowana ostrym artykułem tego pisma w sprawie zgermanizowania bractwa „Służebniczek Maryi“. Pod pozorem, że artykuł ten obraził księcia Biskupa, sypały się inspirowane z Wrocławia oświadczenia dekanatów, przeciwko rzekomo złej tendencyi tego pisma. W tej walce upadło dużo słabszych duchów, między innymi czczony dawniej bardzo jako narodowiec, ks. Engel. Ale i ta kampania się nie udała. „Nowiny Raciborskie“ wyszły z tej walki silniejsze niż były przedtem, a to i reszcie prasy polskiej dodało odwagi i podniosło niezmiernie ducha polskiej opozycyi. Niemcy centrowi pienili się ze złości. Ofiarą jej miał paść pierwszy pan major Szmula, — gdyż bynajmniej nie taił swego niezadowolenia z postępowania stronnictwa centrum, tem się przyczynił do zdemaskowania obłudy centrowej i pierwszy z posłów centrowych zbliżył się otwarcie do raciborskiej opozycyi. Zjawił się on niespodzianie na zebraniu Towarzystwa Polsko-Górnoszląskiego w Raciborzu w styczniu r. 1893, a przyjmowany z wielkim entuzyazmem usankcyonował obecnością swą działalność okrzyczanego za niekatolickie i radykalne towarzystwa tego. Jako próbka stylu polemicznego „katolickiej“ „Schles. Volksztg.“ z owych czasów niech posłuży następujący przykład. Pan major prowadził wtedy w Raciborzu na zabawie Towarzystwa poloneza. Otóż nazajutrz po tej uroczystości pojawiła się w gazecie rzeczonej ostra zaczepka p. majora, która kończyła się słowami: „hat sogar dem famosen „Nowinymanne (redaktorowi W. Maćkowskiemu) die Polonaise vorgetanzt“. Wogóle posypały się na p. majora od tej chwili w prasie centrowej najhaniebniejsze paszkwile. I gdy w maju r. 1893 zaczęto przebąkiwać o możliwości rozwiązania parlamentu i ponownych wyborach, przyjaciele p. majora nie łudzili się ani chwili, że centrum ponownie kandydatury jego nie postawi. I tak się też stało.

Parlament niemiecki został, jak wiadomo, w roku 1893 rozwiązany dla tego, że nie chciał się zgodzić na nowy projekt wojskowy i połączone z nim nowe ciężary podatkowe. W ówczesnej konstelacyi stronnictw — podobnie jak dzisiaj — centrum dzierżyło w swem ręku decyzyą i mogło przechylić zwycięztwo na stronę rządu lub przeciwną. To też ówczesny rząd niemiecki z panem hrabim Caprivim na czele poruszył wszelkie zakulisowe sprężyny, aby pozyskać chociaż tylko pewną część głosów, tyle właśnie, ile do utworzenia większości było potrzebne. Że oczywiście pertraktował w pierwszej linii z arystokracyą centrową, to rzecz zupełnie naturalna. Na czele stronnictwa stał wtedy pan hr. Ballestrem z Pławniowic na Szląsku. Magnat ten, człowiek gładki i przyjemny pod względem towarzyskim, umiał po śmierci barona Frankensteina i Windhorsta zagarnąć naczelne w stronnictwie władze i zdobyć sobie pewną powagę. Były to bowiem czasy śp. nowego kursu, który w katolikach niemieckich wzbudzał najoptymistyczniejsze nadzieje i skłaniał posłów centrowych do łagodniejszej polityki. Spodziewano się może, że centrum stanie się obok konserwatystów niemieckich stronnictwem rządzącem i w tym celu pozwolono p. hr. Ballestremowi pertraktować z rządem na własną rękę. Obok niego zajmował wybitne w stronnictwie stanowisko znany baron Huene. Obaj marzyli już w skrytości serca swego, wobec możliwości centrowo-konserwatywnej koalicyi, — o tekach ministeryalnych i uważali projekt wojskowy za najlepszy środek dla dopięcia do celu tych marzeń. To też całą swą powagę rzucili na szalę, ale niestety stanowczo ponieśli klęskę. Rząd nie chciał dać odpowiedniej do ofiary tej kompensaty na polu kościelno-politycznem, a opinia ludu katolickiego w Niemczech była stanowczo przeciwną nowym ciężarom na wojsko. Wobec tego przy głosowaniu za p. Ballestrem poszło zaledwie jedenastu posłów, podczas gdy gros stronnictwa głosowało przeciwko projektowi. Projekt upadł i parlament został rozwiązanym.

Z tych 11 posłów, którzy złamali solidarność stronnictwa, ośmiu pochodziło ze Szląska: czterech z okręgów wyborczych niemieckich jak p. dr. Porsch i p. baron Huene, oraz dwóch innych, i czterech z okręgów przeważnie polskich, a mianowicie: hr. *Ballestrem*, poseł opolski, hr. *Matuszka* młodszy, poseł prudnicki, baron *Reitzenstein* poseł rybnicko-pszczyński i p. tajny radzca *Dejanicz-Gliszczyński*, poseł raciborski. Zaś przeciwko projektowi w myśl większości stronnictwa centrum głosowali: major *Szmula* (mimo swego charakteru wojskowego), poseł bytomski, radzca *Letocha*, poseł katowicko-raciborski, *Metzner* (mistrz kominiarski z zawodu) poseł gliwicki, oraz mecenas *Stephan*, poseł kozielsko-strzelecki, czyli innemi słowy: czterech arystokratów za projektem, a czterech demokratów przeciwko projektowi.

Opinia publiczna, opinia ludu polskiego na Górnym Szląsku była stanowczo przeciwną projektowi, a wszystkie trzy pisma polskie: „Katolik“, „Nowiny Raciborskie“ i „Gazeta Opolska“, — (osławiony „Kuryer Górnoszląski“ nie istniał jeszcze wtedy) — najdobitniej opinii tej dawały wyraz, — ale cóż sobie panowie Ballestrem et consortes z opinii tej robili? Traktowali oni lud szląski, polskich wyborców swoich, zupełnie jak bydełko, niezdolne do samodzielnego czynu, o którego życzenia i dobro dbać nie potrzeba, a które na rozkaz pasterzy, — w tym wypadku duchowieństwa, — mimo takiego policzka, dalej najspokojniej rydwan wielkopańskiej polityki ciągnąć musi. Przecież panowie ci do tego stopnia w ostatnich latach lekceważyli wolę ludu, że mimo częstych nawoływań prasy polskiej i licznych głosów odzywających się w postaci korespondencyi, o zdaniu sprawy z czynności poselskich na zebraniu wyborców ani słuchać nie chcieli.

Tymczasem ta ich zdrada interesów ludu, przedstawiona przez prasę polską w należytem świetle, wywołała między polskim ludem górnoszląskim wielkie oburzenie, które znów w różny sposób tak dobitnie się objawiło, że panowie ci poznali, iż przyjdzie im stoczyć z wyborcami bój zacięty — jakkolwiek ufni w pomoc księży o zwycięstwie ostatecznem nie wątpili. Osobiste ich widoki będą naturalnie jak najgorsze, więc postanowili na razie pozornie cofnąć się z widowni politycznej i w miejsce swoje, aż do

stósowniejszej pory wysunął innych ślepych swych zwolenników. Więc p. hr. Ballestrem złożył nietylko urząd przewodniczącego w stronnictwie, — ale oświadczył zarazem, że mandatu już więcej nie przyjmie, a za jego przykładem poszli hr. Matuschka i p. baron Reitzenstein. Jedynie były poseł raciborski, p. Dejanicz-Gliszczyński jeszcze się wahał. Faktycznie nic się nie zmieniło. Pan Ballestrem, hr. Matuschka (starszy), dr. Porsch i p. baron Huene pozostali i nadal naczelnikami szląskiego komitetu stronnictwa centrum, a posiadając w swem ręku także główny organ centrowy: „Schles. Volkszeitung“ postanowili dalej uprawiać przychylną dla rządu i projektu wojskowego politykę, potępioną przez wyborców swoich. I podczas gdy w walce przedwyborczej cała niemiecko-katolicka prasa występowała stanowczo przeciwko projektowi, „Schles. Volksztg.“, „Oberschles. Volksztg.“ i inne centrowe organa górnoszląskie zajęły stanowisko niewyraźne, niezdecydowane, — a nawet wręcz przychylne projektowi.

Chodziło teraz o postawienie nowych kandydatów i w tym celu panowie Ballestrem i towarzysze zwołali do Wrocławia zebranie mężów zaufania stronnictwa centrum. Ale jakich to mężów zaufania! Nie czasem takich, których lud polski, to jest wyborcy wybrali na zebraniach publicznych, — tacy byliby stanowczo się oparli zamysłom panów niemieckich. Otóż zawezwano z każdego okręgu jednego albo dwóch *dziekanów* lub *proboszczów* wybitniejszych, mających wpływ na resztę duchowieństwa, a oprócz tego ślepo duchowieństwa słuchających katolików niemieckich. Takim był ów centrowy komitet wyborczy już przed dwudziestu laty i takim pozostał po dziś dzień, a więc komitetem zupełnie samozwańczym, ignorującym a nawet wprost gwałcącym wolę polskiego ludu. Aby zanadto nie drażnić opinii ludu, uradzono na posiedzeniu komitetu tego postawić na nowo trzech posłów dotychczasowych, a przez lud dosyć lubianych, pp. *Letochę*, *Stephana* i *Metznera*, — ale pod warunkiem, że co do przyszłego stanowiska względem projektu wojskowego nie będą się wiązali żadnemi przyrzeczeniami, — *za to usunąć raz na zawsze majora Szmulę, tę widomą głowę polskiej opozycyi i męża, który nigdy nie byłby przystał na taką klauzulę*. Pan major *Szmula*, który na owem posiedzeniu był obecnym, otrzymał na swe zapytanie, dla czego kandydaturę jego usunięto, odpowiedź cynicznie — otwartą, że tylko dla tego, iż zanadto kokietuje z polską opozycyą, a mianowicie z opozycyą narodową, skupiająca się około „Nowin Raciborskich“ i „Gazety Opolskiej“.

Panowie centrowi wiedzieli dobrze, że wobec tego zamachu na najpopularniejszą między ludem polskim osobistość, opozycya polska jeszcze się wzmoże, i dla tego z wielką mądrością wybrali następcę pana majora. Był nim poczciwy staruszek *ks. dziekan Nerlich* z Piekar pod Bytomiem. Piekary są miejscem pątniczem z cudownym obrazem Matki Boskiej, sławnym nietylko na Szlątku, ale w całej Polsce, bo przed nim Jan Sobieski idąc pod Wiedeń składał śluby uroczyste, przed nim też konwertowali, jadąc do Polski na objęcie tronu, obaj sascy Augustowie. Kalwarya piekarska, przepięknie przez ks. Nerlicha wybudowana i ozdobiona, ściąga rok rocznie tysiące pątników, to też osoba proboszcza miejscowego była i jest po dziś dzień bardzo popularną, tem bardziej, że posiada on charakter łagodny, jeszcze nienajgorzej po polsku mówi i jawnie przynajmniej jako germanizator nie występował. Spodziewano się więc, że przeciwko takiemu kandydatowi opozycya polska nic zdziałać nie zdoła.

Podobnie mądrze postąpiono sobie w okręgu opolskim i prudnickim: — w obu okręgach postawiono na kandydatów księży, i to księży także bardzo popularnych, mówiących po polsku, pochodzących z ludu, z polskiemi nazwiskami, jakkolwiek w głębi serca najzupełniej oddanych panu Ballestremowi i towarzyszom jego, w opolskim okręgu *ks. Wolnego*, a w prudnickim *ks. Cytronowskiego*. Największy ambaras sprawiał działaczom centrowym okręg raciborski. Tam, jak powiedzieliśmy, zamierzano nasamprzód narzucić ludowi ponownie kandydaturę pana Gliszczyńskiego. Nie myślcie atoli, iż pan ten jest Polakiem, tylko nazwisko pozostało u niego polskiem, pochodzi bowiem z starej polskiej szlachty szląskiej, ale ród jego już od wieków zniemczony. On sam ani słówka po polsku nie mówi. Pan Gliszczyński był wtedy radzcą przy „Kammergerichcie“ berlińskim, do powiatu, który go obrał, nie zaglądał wcale, z wyborcami nie miał najmniejszej styczności, o ich zdanie nie dbał, a w parlamencie należał do najbardziej ugodowo usposobionych posłów centrowych. To też kandydatura jego była u ludu polskiego w okręgu raciborskim, a nawet u więcej samodzielnych i demokratycznie usposobionych Niemców katolików tak znienawidzoną, iż ostatecznie jednak odstąpiono od niej. Zachodziła w tym wypadku jeszcze ta trudność, że podczas gdy w innych okręgach nawet w razie rozbicia głosów zawsze zwyciężyć musiał kandydat *katolicki*, powiat raciborski już od samego początku należał do mniej pewnych. Istnieje tam bowiem silne stronnictwo wolnokonserwatywne, podtrzymywane głównie przez zniemczone mieszczaństwo, znaczną część pogrążonego w zupełnym niby farentyźmie politycznym ludu morawskiego i dwa wielkie fideikomisy, rozpocządzające znacznemi zastępami „białych niewolników“. Stosunek głosów przy wyborach w roku 1893 był taki, że pan Gliszczyński otrzymał 9000, a kandydat wolnokonserwatywny, książę Raciborski, 7000 głosów. Gdyby więc chociaż kilka tysięcy głosów odłączyło się od centrum, — tak rozumowali działacze centrowi, wytworzyłaby się bardzo skomplikowana i nieprzyjemna sytuacya wyborów ściślejszych. Więc postanowiono na razie poświęcić pana Gliszczyńskiego, i zręcznym jakim *coup d'état* jednak postawić na swojem.

Co atoli w tym czasie robiła nasza prasa polska, nasza narodowa opozycya? Niestety z żalem wyznać muszę, że nie było między nią tej jedności, tego porozumienia, które w takich warunkach jest nieodzownie potrzebnem, jeżeli sprawa ma wziąć dobry obrot. Sytuacya swoją drogą była korzystna, jak nigdy. Urok stronnictwa centrum był przez odstępstwo panów szląskich rozbity, aureola uświęconej przez Kościół nietykalności co najmniej podkopana, lud stracił zaufanie do centrum, a przynajmniej do narzuconych mu przez księży reprezentantów szląskich, którzy wbrew woli i przeciw interesom jego, pomijając już narodowe i językowe względy, w parlamencie głosowali za nowemi ciężarami. Wprawdzie rozwiązanie parlamentu nastąpiło za nagle, za niespodzianie, — brakło nietylko ludzi, ale i organizacyi. Z tego powodu opozycya w okręgach, gdzie nie było gazet polskich, tych centr ruchu polskiego, mogła być tylko *bierna*, jednakże w okręgach *bytomskim, opolskim i raciborskim*, gdzie dzięki gazetom i względnie liczniejszej inteligencyi polskiej organizacyą taką łatwo było stworzyć, śmiało można było wystąpić do otwartej walki z centrum. Tymczasem stało się to faktycznie tylko w okręgu raciborskim, w okręgach opolskim i bytomskim nie zdobyto się na tyle odwagi.

W Raciborzu zaraz po rozwiązaniu parlamentu za inicyatywą redaktora Maćkowskiego i dr. Rostka utworzył się komitet z samych włościan, rzemieślników i robotników złożony, który zajął się wyborami niezależnie zupełnie od miejscowych przywódzców centrowych. Komitet ten wyraźnie nazwał się polskim i ludowym i *pierwszy na Górnym Szląsku wyłamał się z pod bezwzględnej przynależności do centrum*. Był to moment w dziejach Szląska bardzo ważny. Przykład powiatu raciborskiego oddziałał i na inne powiaty i wszędzie pobudził lud do oporu. Tymczasem chodziło przedewszystkiem o przeprowadzenie na nowo kandydatury pana majora Szmuli. Postawić pana majora na kandydata w powiecie raciborskim

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

— No tak, mój chłopcze, to zupełnie słuszne — rzekł tonem lekkiej ironii. Z idealnego punktu widzenia, byłoby to nawet godnem najwyższego szacunku: na świecie jednak nie tyle z idealnych punktów widzenia spoglądamy na rzeczy, często życie zniewala nas je pomijać. — Dobrze, idziemy zaraz — rzekł teraz, zwracając się do służącej, która weszła do pokoju z oznajmieniem, że waza na stole... — idealne poglądy mają zapewne swoją racyę bytu, są one, że tak powiem, szkłem powiększającem, przez które patrzeć możemy na własne wady nasze. Do tego użytku są znakomite, lecz w ogólnem, praktycznem zastosowaniu są do niczego. — A teraz nie mówmy już o tem więcej! Chodźmy, bo wystygnie.

Mówiąc to, zlekka uderzył Bergstöma w ramię i wszedł do sąsiedniego pokoju.

Bergström zbliżył się do Engelki, która też ku niemu się zwróciła: twarz jej pałająca i oczy pełne blasku zdradzały wewnętrzne wzburzenie.

— Jerzy — rzekła cichutko, biorąc go za rękę. — musisz mi przyrzec jedno: nie napiszesz nic o Nörgaardzie!

Spojrzał na nią zdziwiony.

— Dobrze, ale dla czego?

— O, przyrzeknij mi to! proszę cię Jerzy!

— Tak, tak... Czy także uważasz to za niepraktyczne? — zapytał drwiąco.

— Nazwij to jak chcesz, wszystko mi jedno! — szepnęła.

I zanim mógł coś odpowiedzieć, zarzuciła mu oba ramiona na szyję i na ustach jego przeciągły złożyła pocałunek. Doktór niecierpliwił się już z drugiego pokoju. W tejże chwili weszli, trzymając się za ręce, do jadalnego pokoju.

III.

W dni następne niewiele mówiono o Nörgaardzie w domu dr. Pauli: a gdy Bergström od czasu do czasu temat ten poruszał, odpowiadał mu doktór wymijająco, co wyraźnie świadczyło, że niechętnie o tem mówi.

To jednak bynajmniej nie dziwiło Bergströma, — natomiast zachowanie się Engelki, w ostatnich dniach, wiele mu dało do myślenia. — Dawniej, zauważył, ilekroć potrącał w rozmowie o Nörgaarda, — a czynił to często, — stawała się niespokojną, najchętniej zaś omijała ten przedmiot rozmowy: uciekała wprost przed tem nazwiskiem. Teraz inaczej: gdy wspomniał go, natychmiast milkła, patrząc na niego z miną tajemniczą, zakłopotaną...

— Co też to być mogło? zapytywał siebie. — bo jej nie chciał o to pytać, w obawie, aby nie pierzchnął ten nowy czar, jaki jej owa tajemnica nadawała, — a badał chętnie, bez wszelkiej pomocy, duszyczkę swej przyjaciółki. Sam chciał błądzić po nieznanej tej krainie, kryjącej w sobie wiele źródeł świeżych, wiele kiełków, które, — ażeby dobrze rozwinąć się mogły — powoli na światło dzienne wyprowadzać należało...

— Żeby już te przeklęte wybory minęły! — myślał — wówczas cały oddam się mojej miłości...

Lecz owe wybory, wogóle polityka ku własnemu jego zdziwieniu bardzo go zajmowały.

W długich wywodach usiłował on przedstawić doktorowi, — każdemu wogóle, kto tylko chciał słuchać — jak ważną jest chwila obecna dla rozwoju życia umysłowego Danii, która, po długich latach niewoli duchowej, na nową wstępuje drogę. Dania znajduje się w przededniu wielkich zmian, które spowodują przeobrażenie się jej stosunków.

— Bo też za długo — mówił z ironią — trwało owo karmienie słabych żołądków naszych strawą ciężką, niezdrową; z ciekawości głupiej i z niezdrowego popędu do naśladownictwa staraliśmy się proste nasze potrawy ojców za-

było atoli rzeczą ryzykowną, ponieważ powiat ten za mało przedstawiał widoków zwycięstwa. Najnaturalniejszą rzeczą było postawić pana majora na nowo w powiecie bytomskim przeciwko ks. Nerlichowi, boć tam jako poseł dotychczasowy i wobec jednolitej pod względem narodowym ludności najpewniej mógł być wybranym. Atoli „Katolik" bytomski nasamprzód się wahał, — pismo to byłoby może wogóle poświęciło p. majora i dla „miłej zgody" i dla „sprawy katolickiej" zgodziło się na ks. Nerlicha, gdyby lud sam nie był murem stanął przy dawniejszym swym pośle. Dopiero pod presyą ludu „Katolik oświadczył się za p. majorem i na rzecz jego rozpoczął agitacyą, ale zawsze jeszcze na podstawie programu *centrowego* i jako dla kandydata centrowego.

W Opolskiem, posiadającem jeszcze stosunkowo najlepiej dla polskości usposobiony zastęp księży, duchowieństwo samo zbliżyło się do „Gazety Opolskiej" i stojącego za nią stronnictwa polskiego, utworzyło komitet, do którego weszli w równej liczbie niemieccy i polscy katolicy i zgodziło się na zupełne równouprawnienie, w zamian za co strona polska przyjęła kandydaturę ks. Wolnego, który ze swej strony złożył deklaracyę, że zawsze wiernie bronić będzie polskiego ludu. I w innych okręgach skończyło się na krzyku, — ostatecznie, jakkolwiek z pewnemi zastrzeżeniami z wyjątkiem Raciborza i Bytomia dla braku kandydatów odpowiednich i ludzi do agitacyi wszędzie przyjęto kandydatów centrowych. Otóż i tak nieliczna u nas inteligencya w tej właśnie chwili do reszty stchórzyła, — *a Wielkopolska . . . . o nas wcale nie dbała!*

A była to, jak zaznaczyłem na wstępie, jedyna chwila, w której mogło było nastąpić polityczne zbratanie się obu dzielnic. Centrum na Szląsku było rozbite, lud polski wzbudzony, więc przy szczerym współudziale Wielkopolan, przy stósownem z waszej strony poparciu można było pokusić się o cel ten tak wzniosły a tak dawno upragniony. Niestety stało się inaczej. Wielkopolanie poszli inną odmienną drogą, *dla nich ważniejszemi były złudne korzyści polityki ugodowej, aniżeli odzyskanie bratniej dzielnicy z milionem ludu polskiego. I podczas gdy u nas pod presyą ludu, niezdolnego* już podołać ciężarom państwowym, nawet ks. *Cytrynowski* i ks. *Wolny* zniewoleni zostali w końcu oświadczyć się przeciwko projektowi wojskowemu, gdzie lud cały wytężył wszystkie siły, aby wybrać posłów przeciwnych nowym ciężarom, — u was w Wielkopolsce dzięki mądrości politycznej p. Kościelskiego odbywały się wybory pod hasłem *przyjęcia* projektu. Ma się rozumieć, że w tych warunkach o jakiemkolwiek połączeniu mowy być nie mogło. *Lud szląski nie pojmował tego, jak można było nową broń wciskać do tej ręki, która dla nas żadnych niema względów — i stracił zaufanie do Was. I tak wzniosła ta chwila minęła bez korzyści i ci, którzy u Was wówczas tę politykę uległości dla rządu zainaugurowali, kiedyś przed forum przyszłych pokoleń znajdą sędziów surowych a nieubłaganych.*

Lecz wróćmy do powiatów bytomskiego i raciborskiego. W bytomskim jak już powiedzieliśmy lud otoczył murem majora Szmulę.

W raciborskim okręgu ofiarowano mandat poselski najprzód dwom wybitnym członkom inteligencyi szląskiej, ale ci panowie odmówili, niechcąc się narażać na nieprzyjemności walki. Wtedy postawiono na kandydata p. *Robotę*, emerytowanego nauczyciela z Prudnika, gorącego Polaka i człowieka pod każdym względem uczciwego. Komitet raciborski wydał dla poparcia kandydatury tej trzy odezwy, w języku *polskim, morawskim i niemieckim.* Wtedy centrum chwyciło się środka ostatecznego i **połączyło się z stronnictwem wolnokonserwatywnem przeciwko kandydatowi polskiemu!** Na wspólnego kandydata wybrano ks. *Franka*, proboszcza przy kościele św. Piusa w Berlinie, Niemca, a raczej zniemczonego Morawianina z powiatu raciborskiego, który był przez czas dłuższy w Raciborzu wikarym i jako ksiądz cieszył się sympatyą ludu. W imieniu jego na zebraniu w Raciborzu ks. Scheffer, proboszcz raciborski złożył deklaracyę, że będzie głosował za projektem wojskowym, bo tylko pod tym warunkiem zgodzili się wolnokonserwatyści na jego wybór. No i rozpoczęła się walka wyborcza, jak równej nigdy prawie nie było, walka pełna iście homerycznych epizodów. Księża używali wszelkiego wpływu przeciwko kandydatom ludu, walczyli środkami najniegodziwszemi a byli między nimi tacy, którzy, — fakt to zapisany do historyi, — *publicznie kazali się modlić o nawrócenie majora Szmuli i Roboty oraz redaktorów Napieralskiego, Koraszewskiego i Maćkowskiego jako najzawziętszych buntowników przeciwko „centrum i Kościołowi!"*

Lud godnie odpowiedział na tę agitacyą, zwłaszcza w powiecie bytomskim. Tam pan major Szmula otrzymał w dniu 15 czerwca r. 1893 — przeszło 23,000 głosów, podczas gdy przeciwnik jego, ks. Nerlich, uzyskał ledwie 7000 głosów. I w powiecie raciborskim byłoby centrum upadło, mimo ślepego posłuszeństwa ludności morawskiej, gdyby nie pomoc wolnokonserwatywna. Pan Robota otrzymał bowiem 6000, — a kandydat połączonych stronnictw niemieckich 9000 głosów.

Łamy waszego pisma za szczupłe, abym Wam mógł opisać szczegóły tej walki, jaką wtedy stoczyliśmy, szczegóły nader ciekawe, rzucające jaskrawe światło na stosunki nasze. Może później znajdziecie więcej miejsca na to. Tym razem poprzestańcie na tym krótkim opisie. Później, jeśli zechcecie, opiszę Wam także, jak to centrum przy następnych wyborach wyszło na tej pomocy konserwatywnej; pomówię też o naszej szląskiej literaturze rodzimej. Dziś skończę życzeniem: Oby nauka roku 1893 nie poszła w las! Nie szukajcie zwodniczych korzyści tam, gdzie ich nigdy nie znajdziecie, gdzie zawsze w takiej lub w owej postaci mieć będziecie wrogów przed sobą. Zbliżcie się raczej do nas, otwórzcie ramiona tym, którzy do was wzdychają, a korzyści, jakie przez to odniesiecie będą stokroć większe. Daj Boże, aby jeśli znów taka chwila nadejdzie, znalazła nas w jednym szeregu, ramię przy ramieniu przeciwko tym, którzy nam chcą wydrzeć narodowość naszą!



POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego.

„Dziennik Kujawski" donosi w numerze 152:

„Przed 10 laty rozpoczęto przenosić z W. Ks. Poznańskiego nauczycieli Polaków do prowincyi zachodnich, a na opróżnione po nich miejsca sprowadzano Niemców z nad Odry, Elby lub Wezery.

Aliści okazało się wnet, że procedura ta jest kosztowną i bezowocną. Zaniechano przeto przesiedlania nauczycieli naszych „nach dem Westen des Reiches", ale za to praktykuje się teraz inny system. Ściągają obecnie do preparandyi i seminaryów nauczycielskich W. Ks. Poznańskiego młodzież z niemieckich prowincyi, a przez to Polakom wstęp do tychże zakładów ogromnie utrudniono.

Lecz nie dość na tem. Aby ile możności jak najwięcej posad nauczycielskich na ziemi naszej wychowawcami nowszego zakroju obsadzić, wzięto się jeszcze na inny sposób.

Otóż radzcy rejencyjni, rewidując szkoły na prowincyi przeważnie w tych okolicach, gdzie są zatrudnieni Polacy, bardzo uważają na to, czy dzieci są w stanie wyjęzyczyć się podług ich życzeń. Jeżeli dziecko ma wymowę twardą, akcentuje i intonuje na sposób polski, natenczas pan radzca udziela nauczycielowi radę, aby wniósł o emeryturę, albowiem widzi, że jest on już starszej daty i nowszym zadaniom szkoły sprostać nie jest w stanie.

Dąży się przeto wszelkiemi siłami do wytknięętego celu, ale teraz nie robi się wiele hałasu. Nie łudźmy się. Nacisk na szkoły jest coraz większy, ale

---

stąpić innemi lub obcemi zaprawić dodatkami, a nieuniknionym rezultatem tego, cóż się okazało? Oto pokolenie słabe, cherlawe! — Lecz Bogu dzięki znaleziono już skuteczne środki zaradcze! z całym spokojem zatem powróćmy do naszych narodowych klusek na mleku i kaszy! a niebywałe zdrowie znowu zapanuje wszędzie. Zaiste! jak pięknie rozwiniętem byłoby wówczas młode pokolenie, jak pełnem zapału i myśli głębokich a wzniosłych!

— W myśli — opowiadał dalej z uśmiechem — widzę kochany nasz lud w obronie narodowych swych właściwości powstający: kobiety i mężczyźni w wielkie łyżki uzbrojeni, stają do walki z wszelkiemi wpływami obcemi, — życie swe gotowi złożyć w ofierze... Dokoła zaś nich czuwające grono szanownych uczonych naszych...; gdyby zaś zbliżył się do nich jakiś ptak piękny, szybkolotny, z innych krajów przybyły — i począł śpiewać o tem, jak pięknie na wielkim jest świecie, jak śmiało tam patrzeć można, jak swobodnie myśleć i szerokie horyzonty myślą obejmować — wówczas czujne powagi nasze nie omieszkałyby krzykiem swym piękny śpiew ptaka zagłuszyć, a ludek tak długo odgrażałby się swemi łyżkami od kaszy, dopókiby go do odlotu nie zmusił... A potem modły dziękczynne wznosiłby do nieba za uratowanie odrębności... i spokojnie wróciłby do kaszy i mleka.

W ten i podobny sposób zabawiał Bergström swego teścia wieczorami przy toddy. Pauli śmiał się wesoło, lecz radził mu unikać alegoryi...

Bergström z szczególnem upodobaniem śledził bieg kampanii wyborczej, jaka przed jego prawie oczyma się rozgrywała. W redakcyi pewnego konserwatywnego pisma, z którem nieco sympatyzował dla jego tendencyi do pewnego stopnia liberalnych, — dowiedział się, że Nörgaard nie sam kandyduje w swoim okręgu, ma on dwu kontrkandydatów: radykała adwokata z pobliskiego miasteczka, byłego posła, a także pewnego młodego właściciela dóbr, zwolennika zasad umiarkowanej lewicy. Dowiedział się także, że zwoływane przez Nörgaarda zgromadzenia bez wszelkiej odbywają się opozycyi, gdyż owi kandydaci zajęci są zbytnio napaściami na siebie, — by na trzeciego kandydata zwrócić uwagę. Mając więc zapewniony prawie mandat, może Nörgaard cały czas swój i siły poświęcić walce z niemoralnością i że w tej kwestyi na wiele interpelacyi pełne obietnic na przyszłość daje odpowiedzi. Pisma miejscowe zapowiadały już świetne jego zwycięstwo.

Nareszcie nadszedł ów wielki dzień. W Kopenhadze ogólnie interesowano się wynikiem tych wyborów a to z powodu Nörgaarda, który był tu osobistością znaną w szerokich kołach. Jakież więc było zdziwienie, gdy z Söllerup nadeszła wiadomość, że Nörgaard nie został wybranym, a w miejsce jego ów umiarkowany kandydat lewicy. Zapytywano się wzajem, jak, to się stać mogło? nikt tego się nie spodziewał, tak pewnem było jego zwycięstwo. Bergström zatelegrafował nawet do znajomego swego, który z polecenia swego pisma do Söllerup był pojechał, by na miejscu badać ciekawe te wybory, — ażeby mu tenże dokładne przesłał sprawozdanie o tem, co tam zaszło.

W domu dr. Pauli wywołała wiadomość o rezultacie wyborów wielkie zdziwienie, lecz i radość zarazem. Doktór był nawet z powodu tego w doskonałym humorze, — utrzymywał, że jego światopogląd nabiera coraz większego religijnego zabarwienia dzięki takim wypadkom, w których naocznie się przekonywa o interwencyi w stosunki ludzkie, sił nadprzyrodzonych...

Engelke także zdawała się być bardzo zadowoloną, lecz stała się trochę więcej nerwową, więcej niespokojną, niż przedtem. Gdy byli sami, niezwykle była chwilami ożywioną i mówiła wiele, żartowała, coś u niej niesłychanego dotąd — chwilami pustym wybuchała śmiechem, jak dziecię swawolne... jednem słowem była zmieniona. Wszystko zaś z jednego tajemniczego zdawało się pochodzić źródła: i wesołość jej i smutek nagły i śmiech pusty... Bergström badał ją pilnie... lecz bezskutecznie...

— Słyszę w duszy jej akord harmonijny — mówił do siebie — lecz to bynajmniej nie

tajemnica urzędowa (Dienstgeheimnis) zamyka biednym naszym nauczycielom usta na kłódkę — przeto drobna tylko cząstka dochodzi do wiadomości publicznej z tego, co się na pohybel naszego żywiołu w polskich szkołach obecnie dzieje.

Ale historya uczy, że dzban tak długo tylko wodę nosi, aż s.ę ucho urwie".

—

„Goniec Wielkopolski" powraca w nr. 150 do kwestyi jawności obrad w Kołach polskich sejmu i parlamentu. Z uwag tej sprawie poświęconych wyjmujemy ustęp następujący:

„Drugą naszą sprawą palącą jest stosunek wyborców do ich posłów w Berlinie, a mianowicie kwestya: czy posłowie zobowiązani są zdawać przed wyborcami sprawę z czynności swoich w sejmie i parlamencie?.... Pewnie każdy powie: Przecie wyborcy nie owce — nie mieliby mieć prawa żądania od tych, których posłali do Berlina, aby ci posłańcy zdali potem rachunek z tego, jak sprawy społeczeństwa naszego obrobili? Słuszne to i sprawiedliwe żądanie i pojąć nie można, dla czego większość posłów wzbrania się uznać takowe, mianowicie, że społeczeństwo nasze nie pragnie wiedzieć o każdej drobnostce; nieraz już cierpliwie ono czekało na wyjaśnienie ze strony Koła polskiego i to na wyjaśnienie najpotworniejszych wiadomości, podawanych przez gazety niemieckie, a Koło poselskie milczało jak zaklęte...

Wolno niby każdemu z posłów „na swoją odpowiedzialność" informować swych wyborców, ale Czytelnicy „Gońca W." pamiętają dobrze, że gdy się pojawił jaki artykuł, o którym myślano, że pochodzi z Kół poselskich, jak n. p. ów znany „Intryga górą", to wtenczas pisma ugodowe rzuciły się wściekle i tropiły za... winowajcą, który „zdradził tajemnicę obrad", który złamał solidarność i popełnił inne podobne zbrodnie".

—

Sprawozdawca gnieźnieński „Orędownika" zamieszcza w nr. 150 następującą uwagę z powodu zjazdu Kółek śpiewackich:

„W Gnieźnie spotkałem się z uwagą: czy nie byłoby rzeczą bardzo pożądana, aby podobne Zjazdy nie odbywały się za często. Mieliśmy Zjazd Spiewaków w Gnieźnie, za 2 tygodnie będziemy mieli Zjazd przemysłowców w Poznaniu, — tu i tam podąży znaczna ilość osób tych samych; to jest i za częste i za kosztowne, a co nie mniej ważna — wcale nie potrzebne. Jeden Zjazd na rok to starczy; dwa Zjazdy na rok — to za wiele".

—

„Gazeta Opolska" pisze:

„W sprawie zaburzeń w Mikulczycach napisał ks. proboszcz Waindczoch list do „Schl. Volksztg.", w którym narzeka na bytomskiego „Katolika", a daje do zrozumienia, jakoby norodowo-polska agitacya była przyczyną zaburzeń. Nasze zdanie wobec tego jest takie, że do narodowo-polskiej agitacyi już dla tego samego nie było powodu, że ani ks. Burek, dotychczasowy administrator par. w Mikułczycach, ani ks. Waindczoch do polskich narodowców bynajmniej nie należą, więc nikt nie miał powodu ani za tym, ani za owym agitować. Nawet niemiecko-katolickiej gazecie „Neiss. Ztg." nie wydaje się widocznie odpowiedniem wystąpienie ks. Waindczocha, gdyż gazeta ta zaznacza stanowczo i tłustym drukiem, że sprawa mikulczycka z politycznemi sprawami i z narodowo-polską agitacya nie ma nic a nic wspólnego, a przeciwnicy ks. proboszcza Waindczocha są większą częścią Niemcami. W Mikulczycach chodziło z jednej strony o ubieganie się o względy ludu, a z drugiej strony o pewną bezwzględność w postępowaniu".

„Co do nas to dziwimy się, że echa walk wyborczych, już przecież dosyć dawno zakończonych, ciągle jeszcze w tym lub owym tonie się odzywają w tak nieprzejednany sposób i że poważne organa niemiecko-katolickie takiem oświadczeniem, jak oświadczenie ks. Waindczocha, bez słowa krytyki od siebie udzielają gościnności".

Przegląd prasy słowiańskiej.

Czeskie „Rádikalni Listy" piszą: „Powszechnie daje się zauważyć, że do naszego żywota wdziera się ociężałość niezdrowa. A przecież żadna inna pora nie daje nam tylu przyczyn ku rozmyślaniom i dyskusyom, jak obecna: są to wszystko kwestye pierwszorzędnej wagi, które się na porządku dziennym pojawiają.

„Chodzi o uprawomocnienie projektu podatkowego, drobnemu właścicielowi i robotnikowi tak niedogodnego. Dyskutuje się w parlamencie nad ustawą karną, dotyczącą wszystkich naszych najżywotniejszych kwestyi, tak reakcyjną, iż zdaje się z niej przemawiać duch 17-go stulecia, duch teroryzmu wrogiego wszelkiemu postępowi i cywilizacyi. Powszechnego prawa głosowania brak dziś milionom obywateli; są dalej przede drzwiami wybory do sejmu czeskiego.

„Pomimo to owładnął nas spokój dziwny, niezdrowy. Ruch żywy i energiczny objawia się tylko wśród klerykałów naszych i policyi. Nasza policya zdobywa sobie ogromną powagę. Maluje ona straszydła na ścianach, a ludzie nasi im wierzą. Dość wziąć „Narodni Listy" do ręki, a przekonamy się o tej dobrodusznej wierze w słowa policyi o żywiołach przewrotu, o socyalizmie i internacyonalizmie, — wszędzie widać czarną rękę.

„Stronnictwo klerykalne pracuje według planu doskonale obmyślanego i zorganizowane jest doskonale. Agitacya ta wciska się do naszych towarzystw, do szkół, do literatury.

„Przejrzawszy na wystawie literaturę klerykalną, przerazimy się, widząc jej rozpowszechnienie. Pachołków sobie oddanych duszą i ciałem ma klerykalizm nietylko w księżach, ale i w obywatelstwie. Ci wojowniczo usposobieni halabardnicy walczą przeciw wszystkiemu, co im się nie podoba. Dzisiejszy klerykalizm wyrzekł się zupełnie dawniejszej tolerancyi i kroczy nietylko z gałązką oliwną w ręku ale z pochodnią bojową i mieczem zemsty.

„A jak się wobec tych napastników broni stronnictwo wolnomyślne. Rezolucye i mowy nie wystarczają, trzeba walczyć z przeciwnikami tą samą bronią, którą walczą z nami. W pierwszym rzędzie jest to obowiązkiem ludzi stojących na czele stronnictwa wolnomyślnego. Niechaj tę dziką agitacyą klerykalną piętnują nasze czasopisma ludowe, niechaj pojawiają się tanie broszury, odkrywające fałsze klerykałów, niechaj rozpocznie się czujny przegląd naszych towarzystw i związków.

„Przeciw stotysięcom wydawnictw klerykalnych „Krzyż", „Marya" wydaje się u nas „Lid" i „Ruch", pisma obznajmiające lud z kwestyami politycznemi, socyalnemi i cywilizacyjnemi. Pisma te trzeba szerzyć i rozpowszechniać. Wszystkie nasze towarzystwa powinny dbać o to, w przeciwnym razie lud i mieszczaństwo drobne wpadnie w sieci klerykalizmu. Baczmy na to, aby wielka część naszego ludu na dobre nie utonęła w wodach klerykalnych, — w bagnie bezczynności i ospałości.

„Mamy posłów takich, którzy, przemawiając na zgromadzeniach ludowych, oświadczają, iż są zwolennikami stronnictwa młodoczeskiego, co im atoli nie przeszkadza bynajmniej brać udział w winach klerykałów.

„Jesteśmy przeciwni kandydatom włościańskim, którzy mają bronić rolników tylko, bo wyżej cenimy każdego męża z poglądem samodzielnym, obejmującym nietylko włościan-rolników, ale cały lud. Prawda, że dziś cierpi rolnictwo czeskie, ale niemniej duszno rzemieślnikowi i robotnikowi, wyzyskiwanemu przez kapitał.

„Kandydat na posła powinien mieć zrozumienie dla wszystkich stanów uciskanych, powinien przedewszystkiem mieć to przeświadczenie, iż jego głównem zadaniem jest walka przeciw ciemięzcom a obrona uciemiężonych...."

* * *

„Narodni Listy" piszą z powodu rocznicy spalenia Jana Husa.

„Dziś upływa 480 lat, kiedy w dalekiej Kostnicy nad brzegami jeziora bodeńskiego spalono na stosie jednego z największych i najlepszych synów czeskiej ziemi.

„Hus poniósł śmierć męczeńską w przeświadczeniu, iż prawda była po jego stronie, że śmierć stanie się chwilą odrodzenia ludzkości. Pozostał swoim przekonaniom wierny i poniósł za nie śmierć, której się nie uląkł, choć wiedział, że każdemu groził nią wszechwładny wówczas Rzym, gdy odważył się wystąpić przeciw jego powadze.

Dziś rzeczy idealne nie mają tej ceny jaką miały wtenczas, gdy żył Jan Hus. Mę-

---

wyjaśnia rzeczy... bo i zkąd owe tony, zlewające się w akord?

Pewnego wieczora, tydzień po wyborach, otrzymał on ów oczekiwany list o Nörgaardzie; zaledwie go przeczytał, pospieszył z nim do dr. Pauli.

Zastał oboje w gabinecie doktora: był to piękny z dobrym smakiem umeblowany pokój. W środku pokoju, pod lampą, stało biórko, przy którem siedział teraz doktór, pogrążony w pracy — w końcu zaś, na szezlągu, pod reprodukcyą marzycielskiego „Muzykanta" Giorgionego, — siedziała Engelke z książką w ręku.

Bergström z uroczystą miną wszedł do pokoju, — mimo całej powagi jednak widać było z oczu wielką radość. Cieszył się już z góry na efekt, jaki listem swoim wywoła. Głęboki ukłon złożył doktorowi, poczem zbliżył się do Engelki. Od pierwszej chwili ścigała wzrokiem jego ruchy: — teraz podała mu rękę, którą on z całą godnością pocałował, przyklęknąwszy na jedno kolano rycerskim zwyczajem. Poczem przysunąwszy sobie do kanapy mały stołeczek, prawie u nóg jej usiadł. Siedział tak przez chwilę zupełnie cicho, przypatrując się dr. Pauli, pochylonemu nad swą pracą. Nawet nie przypuszcza, jaka oczekuje go niespodzianka, jakie to zabawne!

Bergström ujął rękę Engelki w swoję i uścisnął serdecznie, drugą zaś ręką wyjął z kieszeni surduta gładko złożony list, rozwinął go ostrożnie, w zamiarze przeczytania. Zauważył, że Engelke pochyliła się, ażeby zobaczyć, co to jest — po chwili zaś nerwowo wysunęła swą rękę:

— Odgadła! — pomyślał — poczem głośno zaczął:

„Söllerup 26 kwietnia. Drogi przyjacielu!

Pauli spojrzał nań wzrokiem błagalnym: — mój drogi — rzekł — oszczędź mnie jeszcze przez dwie minuty... muszę to skończyć koniecznie. Bergström przestał czytać, zrezygnowawszy. Spojrzał na Engelkę; siedziała blada, z szeroko, jakby z przerażenia otwartemi oczyma. Jak ją to interesowało! Zauważył zadowolony, że jego manewr mu się udał.

Teraz i Pauli zbliżył się do nich.

— Jak męczące są te rozprawy! — rzekł — prawdziwe przepisy kucharskie, nic więcej, jak mi Bóg miły! Gdy się je czyta w rękopisie, takie zdają się być obiecujące...

Gniewnym ruchem odsunął fotel od siebie i szybko parę razy przebiegł pokój.

— „Söllerup" — zaczął ponownie Bergström.

Pauli przystanął.

— Cóż to takiego? — spytał zaciekawiony.

— To jest ten list — odparł Bergström z namaszczeniem.

Pauli nie zrozumiał.

— Wybacz, ale jestem zupełnie głupi w tej chwili. Cóż to za list?

— List od przyjaciela mego o Nörgaardzie.

— Ach tak... całkiem zapomniałem... a więc czytaj, proszę!

— Söllerup dnia 26 kwietnia. Drogi przyjacielu!..."

— Czy zajmujący list?

— Tak sobie... ale pisany jest po mistrzowsku. „Drogi przyjacielu! Niewymownie wdzięczny Ci jestem za to, że wezwaniem swem dałeś mi sposobność, wyrwania się choć na godzinę z mego otoczenia i czas ten, w miłem pozwoliłeś przepędzić towarzystwie. Od dwu tygodni żyję w otoczeniu składającem się z redaktorów pisemek brukowych, z typografów o wiecznie brudnych palcach i głupich minach, lub też z matadorów pieniężnych, którym pieniędzy niedostaje, i chłopów, którym nic nie imponuje. O czem tu mówić z tymi ludźmi? żeby chociaż o Bogu, ojczyznie, o królu, ale gdzie tam! ulubionym tematem rozmowy są ich własne, jak noc brzydkie żony lub dzieci, a do tego częstują Cię i zmuszają spożywać ulubione swoje potrawy, bogowie! co za przysmaki! Utrzymywałeś zawsze, że nietrudną jest rzeczą, oddać się na usługi dobrej sprawie, — chciałbym, ażebyś tego sprobował na prowincyi. Prawica w Kopenhadze o tyle wyżej stoi od tegoż stronnictwa na prowincyi, o ile

czeństwa Husa pojąć w naszym wieku nie umiemy. Mimo to każdy z nas, kto wie, jaką wartość życie posiada i jak wielka jest miłość ku niemu, schyli głowę w proch przed heroizmem i przed duchową wielkością tego męża.

„Hus był założycielem fundamentów, na których wzniósł się język i literatura czeska. Jemu naród czeski wiele ma do zawdzięczenia, to też mamy dość przyczyn, aby przypomnieć sobie olbrzyma — ducha w on dzień, kiedy ciało jego na stosie spalono. Pamięć Husa niechaj nam doda sił do walki, którą dzisiaj toczymy!“

* * *

„Il Pensiero Slavo“ pisze o stosunkach w słoweńskiej Istryi:

„We wszystkich krajach ucywilizowanej Europy większość wyborców posiada większość reprezentacyi. Tymczasem system kuryi wyborczych oddaje nas Słowian istryańskich, znajdujących się w przeważającej większości, na łaskę i niełaskę nielicznej ludności włoskiej. Domagamy się reformy, którąby zniosła kurye, żądamy, ażeby prawo głosowania posiadał każdy mężczyzna, liczący lat 24, ażeby wreszcie na pewną liczbę głosów jeden mandat poselski przypadał.

„Reforma taka jest reformą liberalną, ale czy na nią zgodzą się nasi liberalni Włosi?

Z pewnością nigdy, bo liberalizm ten położyłby na wieczne czasy koniec ich głosowaniu. Italianizm Istryi stałby się pustem słowem.

„Z pewnością, że i Włosi wysyłaliby deputowanych, co jest słusznem i liberalnem. Włosi powinni i mogą być reprezentowani. Mniejszości mają swoje prawo, atoli jeżeli są w mniejszości w kraju, to mniejszość powinni posiadać w sejmie.

„Czujemy się zadowolonymi moralnie, że wobec ucywilizowanych Włochów i Niemców my Słowianie reprezentujemy tutaj element kulturny i liberalny, występując do walki w imię prawa, słuszności i postępu cywilizacyjnego“. *D. K.*

SPRAWY EKONOMICZNE.

Przesilenie ekonomiczne w rolnictwie i wniosek hr. Kanitza.

III.

Zwróćmy się teraz do głównego wniosku agrarczyków, który służył za przynętę podczas krzykliwej agitacyi ostatnich dwóch lat, do wniosku hr. Kanitza o upaństwowienie handlu zbożowego.

Niegdyś szlachta polska, będąc panem położenia, rozstrzygając samowładnie w polityce, umiała wyzyskać swoje stanowisko społeczne dla swoich klasowych interesów. W tym właśnie celu prowadziła niedorzeczną np. politykę celną, zabijającą w zaczątku przemysł, byleby mieć prawo przywożenia bez opłaty towarów potrzebnych dla siebie. W tym celu żelazną ręką obcinała prawa wolnych kmieci i tamowała rozwój mieszczaństwa. Nie myślimy bronić bynajmniej szlachty polskiej od tych zarzutów, usprawiedliwia ją przecież sam fakt, że nigdy jeszcze żadna klasa panująca inaczej nie postępowała. Natomiast jeżeli historyk niemiecki tylko u Słowian widzi źdźbło w oku, to już teraz nie może widzieć belki w oku swojego szczepu. Na wniosek tak jaskrawo przeczący wszelkiej sprawiedliwości jaki stawiają „najszlachetniejsi narodu niemieckiego“, te „filary porządku“ nie zdobyła się nigdy szlachta polska. Wniosek Kanitza ma cel wyraźny sprowadzenia niebywałych cen chleba. Nędzarze mają płacić za chleb, od ust sobie odejmując, aby uratować od bankructwa nie rolnictwo niemieckie, lecz wielką własność ziemską, uratować garstkę szlachty (bo wielka własność jest przeważnie w rękach szlachty) która się przespekulowała. Dostatecznem jest przytoczyć dla stwierdzenia tych słów brzmienie wniosku. Parlamentowi niemieckiemu został on przedłożony w formie następującej.

Parlament zechce postanowić, aby wezwano kanclerza, by przedłożył możliwie prędko parlamentowi projekt prawa, według którego:

1) Zakup zboża zagranicznego jak również produktów młyńskich, przeznaczonych do użytku w granicach państwa, odbywa się wyłącznie na rachunek państwa.

2) Cena sprzedażna zboża oblicza się według krajowych cen przeciętnych okresu 1850 do 1890 r., ceny zaś produktów młyńskich, według rzeczywistej wydajności, odpowiednio do cen zboża, a to dopóty, dopóki w ten sposób pokrywa się cena kupna; przy wyższych cenach zakupu zaś, cena sprzedaży powinna być odpowiednio podwyższoną.

3) Fundusz otrzymany ze sprzedaży zboża i produktów młyńskich, byłby użyty w ten sposób, aby: a) corocznie wpływała do kasy państwa suma nie niższa od tej, jaka wpływa obecnie z ceł zbożowych; b) aby wyznaczono niezbędne środki dla nagromadzenia zapasów na potrzeby nadzwyczajne (na wypadek wojny i t. p.); (c) aby wyznaczono fundusz rezerwowy, któryby zabezpieczał wypłatę sumy (a) przeznaczonej dla kasy państwa, w razie wysokich cen krajowych i zagranicznych.

A więc państwo zakupuje zboże zagraniczne i sprzedaje takowe po cenie raz na zawsze unormowanej w kraju. Jasnem jest, że wtedy krajowe ceny podniosą się do tejże normy. Jakaż jest ta norma? Tabliczka, którą hrabia Kanitz dołączył do swojego wniosku daje odpowiedź. Załączam ją tu w formie, w jakiej przedrukowaną została w czasopiśmie naukowem Schmollera.

1. Gatunek zboża.	2. Ilość przywozu przeciętna za lat 10 1884 do 1893 w centnarach podwójnych	3. Cło według umów handlowych Mr.	4. Dochód z ceł Mr.	5. Ceny w Hamburgu 11 grudnia 1884 bez cła Mr.	6. Cena proponowana Mr.	7. Cena spodziewana ze sprzedaży: za centn. Mr.	7. Cena spodziewana ze sprzedaży: za doroczny dowóz Mr.
Pszenica	6.581.709	3,50	23.035.981,50	10,—	21,50	11,50	75.689.653,50
Żyto	7.143.029	3,50	25.000.601,50	8,20	16,50	8,30	59.287.140,70
Jęczmień	5.735.589	2,00	11.471.178,00	7,70	15,50	7,80	44.737.594,20
Owies	1.910.589	2,80	5.350.108,40	9,70	15,50	5,80	11.082.367,40
Bób	221.005	1,50	331.507,50	10,40	18,50	8,10	1.790.140,50
Groch i wyka	318.678	1,50	478.014,00	10,50	18,50	8,00	2.549.408,00
Gryka	245.799	2,00	491.598,00	10,75	15,50	4,75	1.167.545,25
Słód	705.427	3,60	2.539.537,20	9,70	17,50	7,80	5.502.330,60
Kukurydza	3.574.810	1,60	5.719.696,00	10,—	17,50	7,50	26.811.075,00
Mąka	212.884	7,30	1.554.053,20	19,—	30,—	11,00	2.341.724,00
	26.649.519		75.972.275,30				230.958.979,15

Są to cyfry niezmiernie wymowne. Porównanie rubryk 5 i 6 wykazuje, że agrarczycy żądają, aby konsumenci płacili za najważniejsze cztery zboża o 100 procent więcej niż one kosztują dziś na rynku wszechświatowym. Jeżeli zesumujemy rubrykę 3 i 5 otrzymamy przeciętne ceny (podwyższone dziś wskutek ceł protekcyjnych) na rynku wewnętrznym; pszenica 13,50 mr., żyto 11,70 mr., jęczmień 9,70 mr., owies 11,50 mr.

Porównawszy te cyfry z rubryką 6 widzimy, że agrarczykom chodzi o podwyższenie cen obecnych o 61 procent pszenicy, 42 proc. żyta, 56 proc. jęczmienia, owsa 25 proc. — Dla czego pan hrabia żąda cen oznaczonych w ru-

---

wyższą jest zręczna blaga od głupoty, — a to wiele znaczy. W Kopenhadze pozostaną zawsze konserwatyści — wybacz, że Tobie to mówię — jedynymi, z którymi żyć można. Niestety! — powiesz zapewne i przyznam Ci słuszność, — ale cóż robić? Wiesz dobrze, że lewica wiele mnie już kosztowała.

Nieraz zwierzałem się przed Tobą z najpiękniejszych marzeń swoich i pragnąłem być opozycyonistą zagorzałym, lecz wyobrażałem sobie inaczej całkiem ową opozycyę. Sądziłem, że wśród niej znajdę niegasnący zapał młodzieńczy, serca gorące i szlachetne umysły, — jednem słowem młodość, z mieczem płomiennym w ręku, z wiarą niewzruszoną w zwycięstwo sprawy, wyruszające przeciwko filistrom! Cóż jednak z tych marzeń pozostało? Może ubranie tylko; w rzeczywistości bowiem przejawia się cały kopenhaski radykalizm w noszeniu fraka. Areną jego fumoir'y po dobrym obiedzie, a jedynymi bodźcami zielona „chartreuse“ i cygara hawańskie; tam wypowiada się wiele haseł politycznych i społecznych — nie przeczę — lecz jakie to wszystko bezcelowe, jakie nudne w końcu! Całym „raison d'être“ tej polityki jest pikanterya i dowcip, podsycane alkoholem. A czyż to nie zwykły koniec u nas wszystkiego, co ma w sobie pierwiastek rewolucyjny?

A gdzież szukać zresztą właściwej opozycyi? Może u socyalistów? lecz ci nie dają nic pewnego, pozytywnego; biedacy ci znają tylko własne swe żale; kto zaś marznie lub z głodu umiera, ten nie żywi nadziei, ten tylko nienawidzi! Może więc u ludowców, owych szermierzy wolności z marsylianką na ustach, lecz z ostygłemi sercami?...

Nie, mój drogi przyjacielu, nie mów mi o opozycyi w Kopenhadze. Jest tylko jedno wielkie stronnictwo, tem jest prawica, a jest ona wszystkiem, gdyż jest jedyną. O tem pamiętać należy. Lecz jednej rzeczy zrozumieć nie mogę; dla czego właściwie, wszystkie nasze piękne przymioty w dusznej atmosferze prowincyi tak wiele tracą? Dla czego piękne nasze maniery stają się tu sztywnemi formami, nasza zwykle tak delikatna wzgarda dla plebejuszów zamienia się tu w pospolite grubijaństwo? dla czego nasz wytworny konserwatyzm, przechodzi tu w najgłupszą reakcyę a za to nasza tak miła obłuda salonowa staje się tu cnotą największą? Rozumie się, że i tu są wyjątki, które tylko jak zwykle regułę potwierdzają. N. p. Nörgaard jest wyjątkiem, bez wątpienia, a to dla tego, że jest wyjątkowym głupcem...

— Oto jest, pełen odpowiedniego nastroju, wstęp listu — wtrącił Bergström.

— Przyjaciel twój złośliwy ma język — rzekł doktór zapalając cygaro.

— To mało — odparł Bergström i czytał dalej: „A teraz przechodzę do opisu wyborów, czynię to tem chętniej, o ile tragiczny los Nörgaarda był rzeczywiście jaśniejszym punktem na horyzoncie ponurym życia naszego... Jest nawet w całej tej sprawie pewien odcień mistyczny, tak pociągający dla umysłów subtelniejszych, a za który należy być wdzięcznym, gdyż atmosfera w Söllerup w zwykłych warunkach takich wrażeń dać nam nie jest w stanie.

Jeśli czytałeś moją korespondencyą w sprawie wyborów, to wiesz już, jaką niespodzianką dla nas wszystkich był ich rezultat, najwięcej zaś dla Nörgaarda. Okręg jest mały, prawie każdy głos był znany, absolutnie więc zwycięztwo konserwatystów było zapewnionem. Przypuszczano nawet, że kandydat radykalny lewicy cofnie swą kandydaturę, widząc swą sprawę przegraną, aż tu, w ostatniej chwili, całkiem niespodzianie Nörgaard przepada, a mandat otrzymuje kandydat umiarkowanych. Rozmaicie tłomaczono sobie tę nagłą zmianę, lecz już na drugi dzień poczęła krążyć pogłoska, która coraz pewniejsze przybierała kształty, aż wreszcie, — jak mię zapewniano — okazała się niczem nie dającym się zbić faktem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

bryce szóstej? Twierdzi on, że są to ceny przeciętne za ostatnie lat 40, a organ agrarczyków „Korespondenz des Bundes der Landwirthe“ twierdzi, że przy tych cenach nikt z głodu nie umarł. Twierdzenie to nie zgadza się z prawdą, bo pomiędzy temi latami były lata nieurodzaju i rok głodu 1847, w którym dosłownie marli ludzie z głodu, srożył się tyfus głodowy. A najelementarniejsza znajomość rachunku wykazuje, że, przy danych z 40 lat, kilka wygórowanych cen wpływa niezmiernie na rezultat. Dziwna rzecz, że pan hrabia nie wziął za podstawę ostatnich lat 100. Jeżeli już szafować cyframi, to hojnie. Drugi argument jest poważniejszy. Pan hrabia twierdzi, że koszta produkcyi żyta, jeżeli liczyć po 800 marek za hektar dobrego gruntu i po 4 proc. od kapitału, wynoszą 15,10 marek. Mniejsze niż proponowane podwyższenie ceny nie doprowadza więc do rezultatu pożądanego.

Przypuśćmy, że obliczenie to jest słusznem (powiadamy: przypuśćmy, bo takie obliczenie wogóle jest dowolnem, nikt bowiem nie jest w stanie obliczyć „przeciętnych“ kosztów produkcyi żyta, która dla większości gospodarstw rolnych w Niemczech nie jest podstawą gospodarstwa, i dla tego koszta produkcyi zależą tu od setki rozmaitych danych, odmiennych dla każdego gospodarstwa), przypuśćmy, że tak jest. Cóż z tego wynika? Po prostu to tylko, że dziś są kraje nadające się więcej do produkcyi żyta i trzeba jej zaprzestać w Niemczech. Tak argumentowano już w niektórych krajach, n. p. w Szwajcaryi, gdzie zaniechano uprawy zboża z chwilą, kiedy okazało się dogodniejszem sprowadzać pszenicę węgierską i dla tego pola przemieniono w łąki i sady. Tak argumentowano zawsze, gdy chodziło o jakikolwiek towar. Ale agrarczycy gotowi odpowiedzieć na to, że rolnictwo jest podstawą produkcyi narodowej; gotowi poprzeć to orzeczeniami monarchów, ministrów, mężów uczonych a nawet poetów, począwszy od Wirgiliusza (na szczęście nie uczynią tego, gdyż jak wiadomo, znajomość literatury nie kwitnie wśród agrarczyków i faworyzowanych przez nich ministrów, o czem przekonały rozprawy parlamentarne). To argument! Ale zobaczmy ile ma kosztować to ratowanie rolnictwa i kogo właściwie ratować zamierza hrabia Kanitz.

Profesor Schmoller w cytowanej pracy tak oblicza koszta tego „ratowania“. W ciągu lat 1888—1892 przeciętny zbiór pszenicy wynosił: 26,5 mil. cent.
przeciętny przywóz pszenicy wynosił 7,4 „ „
Konsumcya zatem 33,9 mil. cent.

przeciętny zbiór żyta wynosił 56,7 mil. cent.
„ przywóz żyta wynosił 7,9 „ „
Konsumcya zatem 64,6 mil. cent.

Licząc zatem ceny wszechświatowe, ludność państwa niemieckiego powinna zapłacić za pszenicę i żyto (licząc po cenie wszechświatowej obecnej za pszenicę 10, za żyto 8,20 marek):

33,9 × 10 = 339
64,6 × 8,20 = 530
869 mil. mrk.

W razie urzeczywistnienia projektu zapłaci zaś:

33,9 × 21,5 = 729
64,6 × 16,6 = 1072
1801 mil. mrk.

Czyli ludność ta za dwa tylko najważniejsze zboża zapłaci więcej niż powinna zapłacić blisko miliard marek rocznie? Ludność cała zamieszkująca państwo niemieckie i każdy poddany płacić będzie tem więcej, im więcej zjada chleba, to jest im jest biedniejszy. A kto skorzysta? — Rolnictwo krajowe — odpowiadają agrarczycy, podsuwając myśl, że te 1000 milionów spłynie deszczem obfitym na całą ludność zatrudnioną rolnictwem. To fałsz. Po pierwsze nie skorzystają z tego najmici wiejscy, nieposiadający roli, a więc nie produkujący zboża. Ta część ludności wiejskiej, a jest to część przeważna, nie odniesie korzyści w żadnym razie. Być może, że zarobki jej podniosą się cokolwiek stosownie do wzrostu cen zboża, ale znaczniejsza podwyżka nie nastąpi. Jest bowiem pewnikiem, że wyższe ceny towarów nie uspasabiają bynajmniej przedsiębiorców do płacenia większej płacy, chyba że zmusi ich do tego brak rąk roboczych lub solidarny nacisk najmitów. W danym wypadku popyt na ręce robocze nie wzrośnie, jeżeli się nie zmniejszy (ponieważ przy wysokich cenach zboża wiele gospodarstw większych od bardziej intenzywnej kultury przejdzie do ekstenzywnej, n. p. zamiast buraków, wymagających wielkiego nakładu pracy ręcznej, przejdzie do uprawy pszenicy w większych niż dotąd rozmiarach). Solidarnego wystąpienia najmitów niemieckie rolnictwo obawiać się nie potrzebuje wobec 1) niskiego stanu kulturalnego tych najmitów, 2) praw obowiązujących które, jak n. p. w monarchii pruskiej stawiają tych najmitów pod przepisy wyjątkowe (Gesindeordnung) nie pozwalające na żadne wystąpienie solidarne. To jedno, a po drugie nie wszystkie gospodarstwa rolne odniosą korzyść z podwyższenia cen zbożowych. Statystyka rolnicza z roku 1882 (landwirtschaftliche Betriebszählung) wykazuje, że istnieje w Niemczech 1) trzy miliony gospodarstw mających mniej niż dwa hektary ziemi. Z tych gospodarstw żadne nie sprzedaje zboża. Część z nich kupuje zboże na potrzeby domu. 2) milion gospodarstw od 2—5 hektarów i 3) milon od 5—20 hektarów. Część tych gospodarstw, szczególniej ostatnich, sprzedaje już zboże, ale część, i to poważna, kupuje, mianowicie gospodarstwa w Saksonii, na zachodzie i południu Niemiec, ciągnące cały dochód z hodowli bydła, ogrodnictwa, winnic i plantacyi tytoniu. Cały zysk zabiorą gospodarstwa mające więcej niż 20 hektarów. Tych gospodarstw jest 306,500. Do nich należy przeszło 50 proc. całej ziemi, i te to gospodarstwa sprzedają całą ową olbrzymią masę zboża, pojawiającą się na rynku krajowym. Te 306,500 posiadłości są w rękach najwyżej 250,000 posiadaczy, stanowiących zaledwie 20 część przedsiębiorców rolniczych. Dla nich to konsumenci mają płacić ów miliard marek kontrybucyi. — Za dawnych dobrych czasów szlachta zmuszała swoich podwładnych do odbywania pańszczyzny, ale też odpowiadała przynajmniej nominalnie za ich byt, w razie potrzeby dwór stanowił ucieczkę dla chłopa pańszczyźnianego. Dziś pan hrabia Kanitz chce zmusić do składania kontrybucyi bez wyjątku wszystkich, którzy są zmuszeni do kupowania chleba w granicach cesarstwa niemieckiego, do płacenia kontrybucyi na korzyść garści przedsiębiorców, którzy nie biorą na siebie zobowiązań względem nikogo, nawet względem najmitów, z których ciągną korzyści. Ta kontrybucya miliardowa, licząc po 2 dwie marki za dzień roboczy, jak to wypada maksymalnie dla Niemiec, wynosi rocznie 500 milionów dni pańszczyzny, które wykona ludność na korzyść wielkich posiadaczy, tych „filarów porządku i najszlachetniejszych narodu“. Zaiste, wielka to reforma społeczna.

A przecież wnioskodawcy znaleźli jeszcze koncept na obronę swego wniosku. Twierdzą oni: „zboże podrożeje, to prawda, ale — cena się unormuje, będzie stałą raz na zawsze i spekulacya będzie niemożliwą“. — Niewiadomo zaiste, czemu się tu dziwić: naiwności czy czelności argumentacyi? Zapewne, wahanie się cen zbożowych nie jest faktem pożądanym, ale ustalenie cen przez podniesienie o 100 proc. wygląda na leczenie bólu głowy przez — odcięcie głowy. W dodatku agrarczycy nie biorą na się odpowiedzialności za daleką przyszłość. Zastrzegają przecież, że ceny będą stałe dopóty, dopóki ceny na rynku wszechświatowym będą niższe od proponowanych przez nich. Co zaś do spekulacyi, to ta zostanie zniesioną tylko dla handlu zawnętrznego, wewnątrz państwa młynarze, piekarze i przekupnie będą spekulowali i nadal, chociaż na mniejszą skalę, boć państwo ma się zająć według projektu

---

HUGON LE ROUX.

KROKI.

Nowela.

Dom na bulwarach zewnętrznych, w pobliżu fortyfikacyi i pustych placów. Okna wychodziły na jakiś ogród, w którym dwa posągi gipsowe murszały pod pleśnią zieloną. Krzaki lilii więdły połamane przez sznury od wieszania bielizny, przeciągnięte z jednego końca alei na drugi, chwiejące się pod ciężarem świeżo wypranych koszul. W bramie nieustannie rozlegał się dzwonek, brzmiał prawie cały dzień, gdyż do tego biednego domu co chwila ktoś przychodził lub wychodził, jak w każdych koszarach, zamieszkałych przez lud.

Lud surdutów łatanych, artystów nie posiadających żadnych ruchomości, malowniczej cyganeryi wielkomiejskiej, która mimochodem z zazdrością spogląda na potężnego kształtami robotnika, jak ucztuje w koszuli na werandzie podrzędnej restauracyi.

Po nad moim pokojem mieszkało ich dwóch. Słyszałem ich kroki nademną, rozlegające się po suficie, czułym jak skóra na bębnie. Nigdy ich nie spotkałem w sieni lub na schodach, gdzie wszyscy witają się ceremonialnie. Ale dobra babina, która co rano przynosiła mi dziennik i dwa rogaliki po susie, opowiedziała mi ich historyę.

Mieszkał tam mężczyzna czterdziestoletni wraz z chłopcem, mającym około ośmiu lat, swym synem zapewne. A matka? może umarła, a może była jedną z tych kobiet bez serca, które dla kochanka rzucają rodzinę i dom.

Życie tych dwóch samotników było uregulowane jak w zegarze kolejowym.

Co rano, o godzinie pół do siódmej rozlegały się po nad moją głową kroki ojca. gdzie widocznie była jego sypialnia: ciężko, jakby oszołomiony jeszcze snem, przecinał on pokój na przełaj. Szedł do łóżka dziecka i tu na kilka chwil się zatrzymywał. Przymykając oczy zdawało mi się, że widzę ich obu. Ojciec siadał w nogach łóżeczka i delikatnie dotykał się drobnych nożąt. Dziecko, podnosząc się z posłania, zarzucało ramiona dokoła szyi tego, który w wewnętrznem utrapieniu serca starał się zastąpić czułość matki zmarłej lub zbiegłej.

O siódmej obaj schodzili. Ojciec zamykał drzwi na klucz, a dziecko przypatrywało się temu poważnie. Nie należało ono do tych, które zjeżdżają po poręczy schodów, przeskakują naraz po kilka stopni, wstrząsając całym domem. Zapewne schodzili obaj trzymając się za ręce i szli tak aż do szkoły; potem mężczyna sam już puszczał się do swego kantoru, gdzie przez cały dzień, z duszą pogrążoną we wspomnienia i nadzieje ojcowskie, zarabiał na życie, na chleb i na dach nad głową. Ale słodka to praca, praca dla dwóch. zakończona nadzieją, że wieczorem powrócą obaj do domu, ręka w rękę.

Powracali późno, zawsze razem, i kroki drobne mieszały się z ciężkiemi krokami ojca. Potem słychać było zgrzyt klucza w zamku; liczne kroki tam i z powrotem uwiadamiały mnie, że zapalano lampę i zajmowano się przygotowywaniem wieczerzy. Obaj dźwigali na sobie znużenie całodzienne; a jednak o tej godzinie kroki ich były lżejsze, cichsze nieomal. Były to kroki zapracowanego spoczynku, kroki przebiegające tam i z powrotem wśród wesołej pogawędki, przepełniały one sobą pokój, deptały, niby po ścieżce, po załomach starego sufitu.

Pewnego poranku klucz nie zaskrzypiał w zamku, drobne nożęta nie wyskoczyły z łóżka. Ciężkie kroki zatrzymały się u wezgłowia z pytającą trwogą. Nagle, zbiegły one z pięciu pięter, z wahaniem konia, któremu odebrano stałego towarzysza.

Kiedy moja babina przyniosła mi dziennik i rogaliki, zapytałem:

— Cóż to się stało u sąsiada?

To się stało, że malec zachorował na gardło. Ojciec zawiadomił w kantorze, że nie przyjdzie. Pobiegł po lekarza. Czekałem na

tylko zakupem i sprzedażą hurtowną zboża zagranicznego.

Niektórzy publicyści chcieli dopatrzeć się w projekcie „jądra socyalistycznego“. Z równą logiką możnaby widzieć socyalistę w każdym rzezimieszku. Socyaliści chcą uspołecznić produkcyę na korzyść mas ludowych, agrarczycy zaś chcą upaństwowić handel zbożowy po to tylko, aby państwo stało się maszyną pompującą grosze z kieszeni mas do torby bezdennej wielkich posiadaczy. Projekt ich jest wynikiem polityki klasowej, doprowadzonej do krańca. Dla tego właśnie jest on charakterystycznym, i również charakterystyczną jest odpowiedź nań, pochodząca ze sfer rządowych. Pruska rada stanu, która obradowała pod przewodnictwem cesarza nad środkami polepszenia położenia rolnictwa, i której między innemi projektami przedłożono projekt hrabiego Kanitza, odrzuciła ten wniosek nie dla zawartej w nim zasady, ale dla tego tylko, że jest on niemożliwy ze względu na istniejące traktaty handlowe, i dla tego, że państwo nie może brać na siebie roli dostawcy zboża dla całej ludności, gdyż zadaniu temu sprostać nie zdoła. Co do sztucznego podrożenia zboża i chleba sprawozdanie publiczne rady stanu wyraża się tak: „nie można zaprzeczyć faktowi, że cały dochód z różnicy ceny zakupu i sprzedaży przez państwo, który ma wpłynąć do kasy państwowej i przedstawia zysk obliczony na wiele milionów, ma być dostarczony przez ogół konsumentów. W tem tkwi niebezpieczny środek agitacyjny, którego nie można przy obecnych warunkach oddać w ręce socyalno-demokratycznej agitacyi“. Słowa te tygodnik ekonomiczny „Sociale Praxis. Centralblatt für Socialpolitik“ (Nr. 28) komentuje słusznie w sposób następujący: Tu już nie zwalcza się podrożenia chleba w zasadzie, lecz tylko ze względu na jednę pojedyńczą partyę polityczną, której nie należy oddawać w ręce tego środka agitacyi i to tylko „przy istniejących warunkach““. Doprawdy, dumną może być partya socyalno-demokratyczna z tego sukcesu: chleba podrożyć nie można, bo onaby z tego skorzystała. Strach przed nią nie pozwala wyzyskać mas ludowych i zagarnąć „zysku wielomilionowego“.

Jakim będzie dalszy los wniosku? Oprócz rady stanu zwołanej a d h o c, obradował nad nim parlament niemiecki w dniu 29 i 30 marca i w końcu większością olbrzymią (przeciw głosom tylko socyalnych demokratów i wolnomyślnych) polecił rozpatrzenie komisyi, która obecnie skończyła obrady i większością jednego tylko głosu odrzuciła wniosek, wejdzie on zatem jeszcze raz na porządek obrad parlamentu. Wniosek popierało około 50 podpisów, pomiędzy innemi dwa podpisy posłów polskich: pana Komierowskiego i Kwileckiego.*) Prawie wszystkie podpisy zdobi słówko „von“. — Jednocześnie prawie w obu izbach sejmu pruskiego agrarczycy prowokowali debaty nad położeniem rolnictwa i środkami zaradczemi, i zawsze zaznaczali, że dokonane lub obiecywane ulgi i subwencye, jak zniesienie podatku gruntowego, zniżenie taryfy przewozowej, obietnice kredytu państwowego, premie wywozowe na cukier i okowitę, przepisy utrudniające sprzedaż margaryny i t. d. i t. d. bynajmniej ich nie zadowolnią; że jedynie w projekcie Kanitza i w zaprowadzeniu bimetalizmu widzą zbawienie. — Rząd dotąd zawsze dawał odpowiedź przeczącą na te żądania. Jednakże w końcu obiecano, jakkolwiek z zastrzeżeniami, poczynić kroki w celu zwołania kongresu międzynarodowego w sprawie waluty. Co do wniosku Kanitza zachowano się do końca odmownie. Nie uzyska on więc bezwarunkowo większości w parlamencie, ale to nie przeszkodzi agrarczykom prowadzić dalej za pomocą niego dzikiej agitacyi, a że potrafią ją prowadzić, na to dali dowody. Rezultat będzie ten, że rząd uczyni ustępstwa jeszcze większe i nowe miliony będzie płacił lud, nowe miliony będą pochłaniać bezdenne kieszenie „najszlachetniejszych“, na dowód, że zapatrywanie na państwo współczesne, jako na potęgę stojącą ponad klasami jest idealistycznem urojeniem, bo państwo jest narzędziem w ręku klas panujących. Miliony te jednakże kryzysu nie odwrócą i spiżowe prawa ekonomiczne będą urzeczywistnione w rolnictwie, jak i w innych dziedzinach wytwórczości, sprzeczność interesów będzie powodowała ruinę słabszych ekonomicznie, zamęt będzie wzrastał, antagonizmy będą się zaostrzać, klęski dla osobników mnożyć, aż w końcu rozwój ekonomiczny doprowadzi do nowego ustroju społeczno-politycznego, z którego skorzystają może nie pewne kategorye wytwórców, ale ludzkość cała.

J. B. M.

*) Postępowanie agrarczyków charakteryzuje fakt, że początkowo umieszczono pod wnioskiem jeszcze 6 innych nazwisk polskich, mianowicie nazwiska panów: Chłapowskiego, książąt Czartoryskich, Dziembowskiego, Polczyńskiego i Ślaskiego. Nazwiska te dostały się do dokumentu podobno bez wiedzy tych panów i zostały później wykreślone.



Wystawa obrazów
w teatrze polskim.

I.

Zmiłowały się muzy nad pustkowiem poznańskiem i w gościnę zawitały do nas. Mamy obecnie dwie wystawy obrazów, — jednę niemiecką za berlińską bramą na placu igrzysk przemysłowych, — drugą polską w przedsionku i foyer teatralnem. Pierwsza, zasilona kilkunastu utworami berlińskiej „Nationalgallerie“ przedstawia się pod względem obfitości i doboru obrazów okazalej niż dawniejsze wystawy poznańskiego „Kunstvereinu“ — druga rozszerzyła również miniaturowe rozmiary zimowych miesięcy i stanęła przed nami piękniejsza i poważniejsza niż w sezonie teatralnym. Jest na tej polskiej wystawie kilka dobrych płócien, — jest kilka utworów świadczących wymownie, że artyści polscy zdecydowali się wziąć w roku bieżącym rozbrat z zasadą, by do Poznania nie o b r a z y lecz o b r a z e c z k i posyłać, a lubo „kicze“ i malowanki zawsze jeszcze w zatrważającej występują liczbie, trudno zaprzeczyć faktowi, że wystawa obecna w naszej artystycznej martwocie jest energiczniejszym wyrazem życia.

Zaraz na samym wstępie, po lewej stronie od wejścia, uderza wielkie płótno W y s p i a ń s k i e g o, przedstawiające widok Wawelu o zmroku na plantach krakowskich. Jest to impresya wieczornego oświetlenia. Cały obraz kąpie się w niebieskich, gdzieniegdzie zielonkawych tonach, i oddziałuje silnie tą jednolitością przejrzystego kolorytu i jakimś dziwnie spokojnym, niemal mistycznym nastrojem. Wawel i drzewa w tem niebieskiem zabarwieniu posiadają urok tajemniczego zamyślenia, — nie ma ścisłego odgraniczenia mas jasnych i ciemnych, nie ma wyrazistych konturów, wszystko zasnuwa się mgłą niebieską a przezroczystą, — chłodne, pełne powietrza i ciszy. Nawet żółty punkt gorejącej latarni na środku alei nie świeci w tem morzu niebieskiem, — płomień wygląda jakby zduszony. Jest to bezwarunkowo jedna z lepszych impresyi, jakie widzieć mi się zdarzyło, — trzeba tylko patrzeć na nią zdaleka, aby doznać wrażenia m o m e n t a l n e j prawdy kolorystycznej.

Do tej samej kategoryi twórczości malarskiej należy inny obraz wielkich rozmiarów,

---

niego z równą jak ojciec niecierpliwością. Jakże się spóźniał!

Gdy dziecko choruje na gardło, wiadomo, że to Bóg powołuje je do siebie. Próżno z tem walczyć, otulać ramionami, walczyć z dłonią, która je chwyta. Wyślizguje się ono z twoich objęć: wyślizguje się wolno, ale ciągle, jak woda płynąca; idzie tam, gdzie wszystko się zaciera i ginie.

Och, jakże te ciężkie kroki posuwały się w nieskończonem stąpaniu po pokoju! Nie schodziły one już wcale. Przez cały tydzień, dzień i noc, przechodziły one od łóżka do komina, od komina do stołu, i w końcu zawsze do łóżka wracały. Obiegały je dokoła, dygotały, chwiały się ze znużenia, kręciły się jak kroki szaleńca w klatce: nie wiedziały one widocznie, gdzie się obrócić, gdzie szukać ratunku.

Straciłem sen; mój pokój, który tak lubiłem, bo z jego okien mogłem patrzeć na zachód słońca poza dachy i wieże wielkiego miasta, stał mi się niemiłym. Z tego powodu przez dwa dni puszczałem się do lasku i przypatrywałem się liliom w Chaville i prównywałem ich wzrost z temi, jakie rosły w naszym ogrodzie.

Ze wsi wraca się późno, i znużony moją majówką, spałem dość długo, gdy wielki hałas nad głową zbudził mię zupełnie.

Nademną maleńki pokoik drżał pod ciężkiemi krokami, które rozlegały się także na schodach, jak gdyby tłum ludzi wstępował i zstępował po nich ciągle.

— Widocznie wynoszą się — myślałem. Może i on wywozi swe dziecko na wieś dla zdrowia.

Przyszła mi chęć przypatrzenia im się, gdy będą dom opuszczali. Wyskoczyłem z łóżka i podniosłem firanki. Niestety! przed domem stał czarny karawan. Zarzuciłem go liliami i białe konie zawiozły je na cmentarz. Przez cały dzień, nachylony nad pracą, obok okna, czyhałem na powrót ojca. Zdawało mi się, że takie czekanie jego powrotu jest moim obowiązkiem. W chwili, gdy złamany cierpieniem wstępować będzie na schody, uchylę drzwi, poproszę go, by wszedł do mnie, uścisnę go i powiem mu:

— Nie chcę, byś sam tylko snuł wspomnienia; nigdy nie zapomnę drobnych kroków, posuwających się obok ciebie.

Dzień i wieczór jednak minął, a on wcale nie wrócił. Później zapytywałem się samego siebie nieraz, gdzie ten ojciec przepędził swą pierwszą noc samotną. Kościoły o zmroku zamykają, zamykają też bramy cmentarne.

Nazajutrz wrócił widać, gdy ja jeszcze spałem, gdyż rano usłyszałem ze zdziwieniem, jak wstawał z łóżka o zwykłej godzinie. Ubrał się wśród ruchów, które odgadywałem po krokach, jakie brzmiały nademną. Widziałem nieomal jego oczy, jego wejrzenie, jakie rzucił przed wyjściem na puste łóżeczko.

Odtąd odchodził i przychodził jak zwykle. Tylko zjawiał się teraz o wiele później, gdyż nie miał już kogo odprowadzać do szkoły i skręcać ze swej drogi do kantoru; powracał też nieregularnie i stąpał ciężko, leniwie po drewnianych schodach. Zdawało się, że ołowiane podeszwy miał u swych butów. Zakręcał kluczem w zamku powoli, jak człowiek, któremu się wcale nie spieszy do tego, co spotka za drzwiami. Całym ciężarem padał na krzesło i widać, że zasypiał na niem snem pełnym niepokoju, bo rozlegał się co chwila głuchy szelest posuwanego sprzętu, nieomal jego skrzypienie. Prócz tego cisza martwa.

Ta cisza wygnała mię z tego domu, z pokoiku, gdzie patrzyłem na krwawy i złocisty zachód słońca. Gdyby był płakał, jęczał, byłbym zdobył się na odwagę i podał mu rękę. Ale on milczał i to milczenie przygnębiało mię niesłychanie; deptał mi serce swemi cięższemi niż dawniej krokami, które już nie przebiegały pokoju i nie zbliżały się do drobnego łóżeczka...

zamieszczony pod utworem Wyspiańskiego, a przedstawiający procesyę kościelną. Autorem jest Koenig. Utworowi temu brak jednolitej i ześrodkowanej kompozycyi. Pojedyńcze grupy, rozrzucone na obszernem płótnie, nie koncentrują się, nie układają naokół jakiegoś milieu, nie stanowią zwartej całości. „Procesya“ Koeniga jest również rodzajem impresyi. Autor widzi przedmiot swój nie tyle w liniach ile przedewszystkiem w plamach. Tylko frontowe grupy odznaczają się względnie ostrem markowaniem i wyrazistością konturów, głąb natomiast traktowana impresyonistycznie jest rodzajem „malarskiego kleksu“. Obraz to ciepły, bez jaskrawości barw, dobrze stonowany i zdradzający w frontowych postaciach niepośledni talent charakterystyczny.

Naprzeciw płótna Koeniga zawieszono wielki obraz Gersona, zatytułowany „Grota św. Salomei“. Wśród pieczary złożonej z głazów olbrzymich, do której zaglada kawałek nieba, stoi jakaś postać kobieca w zielonej sukni i szalu brudno-czerwonym, przedstawiająca, o ile z tytułu domyśleć się można, św. Salomeę. Postać tej jedynej ludzkiej istoty w grocie kamiennej razi banalnością i budzi wrażenie figury maryonetkowej. Postać ta wcale nie występuje, — sztuczna, lalkowata i płaska. Podobnie i głazy spiętrzone nie przybliżają się, nie biją w oczy grozą zmartwiałości, więcej dekoracyjnie niż artystycznie traktowane. Nie lubię obrazów Gersona — zanadto mi akademickie, za mało duszy, za mało indywidualizmu tam widzę, — ale posiada on jedną zaletę, której młodsza generacya malarzy pozazdrościć mu może — posiada wielką poprawność i czystość rysunku. Tam jednak, gdzie działać trzeba barwą, światłem, nastrojem, gdzie martwe linie ożywić trzeba właściwą atmosferą, tam Gerson nigdy nie stanie na wysokości zadania, — zwykle poprawny, ale zimny i sztywny technik-profesor. A dusza ludzka pragnie dziś więcej niż kiedykolwiek indywidualnego życia w przedmiotach sztuki. Wybaczymy łatwiej brak „poprawności“ artyście, niż ten chłód akademicki, w którym znać rękę wirtuoza, a nie ma czucia artysty. Böcklin jest dyletantem w rysunku, a przecież jak on mówi do nas, jak nas odurza wonią legendową, jak śpiewa barwą mistyczną i tym dziwnym panteizmem utworów swoich...

Stanisław Bieńkiewicz nadesłał obraz pod tytułem „Św. Cecylia“. O ile sobie przypominam znajdował się przed dwoma laty na wystawie naszej utwór religijno - historyczny tego samego artysty, wyobrażający jakąś scenę w grocie św. Nikodema. Obraz ten zalecał się precyzyą i subtelnością wykończenia, dobrą modelacyą figur i soczystością kolorytu a zdradzał pojmowanie klasyczne na wzór słynnego Delaroche. Wystawiona obecnie „Św. Cecylia“ przypomina w pojęciu „Grotę św. Nikodema“, ale pod względem techniki ustępuje znacznie utworowi temu. Twarda i martwa w kolorze nie odznacza się ani głębszą charakterystyką, ani dokładną modelacyą i zaledwie w kilku drobnych szczegółach wykonania zasługuje na uznanie. Znacznie lepszym jest portret dziecka Aleksandra Augustynowicza. Pomijając ręce błędnie narysowane, zaleca się ten portret dobrym wyrazem i naturalną karnacyą twarzy o lekkich refleksach z niebieskiej sukienki. W tej główce dziecięcej jest wiele delikatnej słodyczy i głębokiej ciszy. Z wyjątkiem Bilińskiej „Czwartaka“ może to najlepszy portet na wystawie naszej.

W. R.

W setną rocznicę trzeciego rozbioru Polski.

(Podług rozprawy Philippsona i Sorela „O pokoju Bazylejskim“).

(Dokończenie.)

Tymczasem w Bazylei rozpoczęły się układy pełnomocnika pruskiego von der Golz z posłem francuskim Barthélemy. Dyplomata francuski porozumiał się całkiem z dworem berlińskim a nawet uczynił propozycyę, by Niemcy północne z prawego brzegu Renu, tak daleko jak je Prusy zająć zechcą, ogłoszono w obrębie linii demarkacyjnej za neutralne. Lecz komitet „zbawienia publicznego“, słusznie wywnioskowawszy z postępowania polityków berlińskich chwiejność i chęć zawarcia jak najprędszego pokoju, mniej okazał się pohopnym do układów — a nawet usiłował wymódz na Prusach jeszcze większe ustępstwa. Jako też w czerwcu stawił ultimatum, na mocy którego miały prowincye pruskie nad lewym brzegiem Renu dzielić los po tej stronie położonych prowincyi, należących do rzeszy niemieckiej, — i to bez obietnicy indemnizacyi; — linię demarkacyjną całkiem pominięto milczeniem. — Podobny układ byłby hańbą dla Prus, a wielce wątpliwą było rzeczą, czyby Fryderyk Wilhelm i jego minister ośmielili się go odrzucić. — Szczęściem w miejsce zmarłego Golza wysłano do Bazylei śmielszego Hardenberga, który, mając wprawdzie mocą instrukcyi rządowych ręce związane, położył wszakże tę zasługę względem Prus, iż uczynił pokój Bazylejski nie tak jawnie upokarzającym dla nich. — Nie ustraszył się ultimatum, stawionego przez rząd francuski, lecz obstawał przy tem, by zażądano od Prus ewentualnego odstępstwa krajów w sposób godniejszy, nie uwłaczający ich samodzielności, a straty wynagrodzono; — żądał również przeprowadzenia linii demarkacyjnej, ogłoszenia neutralności północnych Niemiec pod opieką Prus oraz obietnicy przyznania tejże opieki wszystkim tym książętom panującym, którzy w przeciągu trzech miesięcy po zawartej ugodzie jej zażądają. Tym sposobem stałyby się Prusy i bez przymierza z Francyą władcami północnych Niemiec, a może nawet i całych Niemiec, w razie, gdyby licząc na neutralność, uwolniły się od wpływu Austryi. Komitet „zbawienia publicznego“ nie okazywał początkowo najmniejszej ochoty do zapewnienia Prusom podobnego stanowiska bez żadnego wynagrodzenia; — szczęściem spory między francuskimi terorystami przyszły Hardenbergowi w pomoc. Rząd francuski, obawiając się wybuchu powstania Jakobinów, które też rzeczywiście nastąpiło 1-go kwietnia, czuł gwałtowną potrzebę pozbycia się zewnętrznego nieprzyjaciela i zdobycia sobie w obec narodu zasługi stworzenia dzieła pokoju. Jako też 31-go marca otrzymał Barthélemy pełnomocnictwo, mocą którego przyjąć miał warunki, stawiane przez Hardenberga. Tymczasem spór Rosyi z Austryą, wywołany kwestyą polską, groził lada chwila jawnym wybuchem. Alvensleben nie mógł przeto już dłużej czekać za tą chwilą, w której ostateczne zawarcie pokoju z Francyą dałoby możność wojsku pruskiemu wyruszyć ku Wiśle, udzielił więc Hardenbergowi wskazówek, nie dozwalających mu wyzyskać należycie położenia i zapewnić Prusom jeszcze większych korzyści. Dnia 5-go kwietnia r. 1795 o godzinie 6-tej wieczorem podpisano pokój bazylejski, mający wywrzeć wpływ olbrzymi na zewnętrzne zorganizowanie się Prus jako też i na historyę całej Europy. Z chwilą tą zaczyna się dla Prus zupełnie nowa karta dziejowa. Wyprawa przeciw rewolucyi została zniweczoną; bractwo „pietystów“ czyli t. zw. „Rosenkreuzerów“,*) dające do niej hasło, odniosło wobec świata całego sromotną klęskę, — klęskę tem bardziej upokarzającą, im większą była pewność zwycięstw i tryumfów. Prusy niechęci ku ideom rewolucyjnym, w miarę, gdy wojna otwarta z niemi ustawała, a republika nabierała charakteru więcej konserwatywnego i spokojniejszego, już nie okazywały i stały nawet w rażącem przeciwieństwie do dwóch obrońców legitymizmu: cesarza i carowej.

*) Stowarzyszenie w Niemczech, zawiązane w początkach XVII wieku, mające na celu reformę Kościoła, dobro państw i jednostek. Założycielem jego był Jan Walentyn Andrea, który w broszurach swych i różnych pismach ulotnych używał pseudonimu „Ritter von Rosenkreuz“, gdyż stosownie do swego nazwiska pieczętował się krzyżem św. Andrzeja i czterema różami, mającemi być symbolem dochowania tajemnicy. W jednej z broszur swoich zużył swego pseudonimu do utworzenia legendy o pewnym rycerzu niemieckim Krystyanie Rosenkreuz, który przy zwiedzaniu wschodnich krajów dowiedział się od mędrców indyjskich tajemnic filozoficznego kamienia. Od tej legendy zapożyczyło sobie Stowarzyszenie swego miana. W XVIII wieku bractwo to przybrało charakter mistyczno-pietystyczny.

Dla stosunków europejskich w ogólności, w szczególności zaś dla stosunków niemieckich, stał się pokój bazylejski istotnem potwierdzeniem reform społecznych, wszczętych przez rewolucyą.

Rząd pruski w chwili zawarcia pokoju świetne sobie na przyszłość rokował nadzieje. Spodziewał się we Francyi zwycięstwa „umiarkowanych“, a z niem zrzeczenia się „naturalnych granic“, t. j. zwrotu lewego nadbrzeża Renu i ograniczenia się na zdobyczach belgijskich, spodziewał się dalej połączenia całych poza-austryackich Niemiec pod swojem zwierzchnictwem, jednem słowem marzył o tem wszystkiem, co dopiero „krwią i orężem“ zdobył w r. 1866, — lecz mrzonki te rozwiały się szybko. W Paryżu, ponownie owładniętym przez żywioły radykalne, zażądano stanowczo posiadłości niemieckich, a południowe Niemcy w żaden sposób uznać nie chciały hegemonii Prus, czyniąc im zarzut, iż dla osobistych korzyści zaprzedały Francyi interesa całego cesarstwa. Zarzut ten zbyt ostry winny były Niemcy południowe sobie wpierw uczynić, pomnąc, iż nie dość energicznie zbroiły się przeciw Francyi, afiszując jedynie swój patryotyzm w podniosłych mowach i szumnych frazesach. Widoczna niechęć Austryi zmusiła Prusy do zawarcia pokoju bazylejskiego.

Lecz bądź co bądź, nie można zaprzeczyć faktowi, iż ostatnia ta ugoda dała hasło do upadku koalicyi, do zupełnego jej rozprzężenia, a nawet do stanowczego zburzenia zgrzybiałego cesarstwa niemieckiego.

Rozkład państwa niemieckiego musiał nastąpić niechybnie z chwilą, gdy jego najpotężniejszy członek wycofał z wszelkich zobowiązań wojennych nietylko siebie, lecz i całe Niemcy północne, — a nawet rzec można, obiecał nagrodę innym państwom niemieckim za podobne złamanie konstytucyi.

Pokój bazylejski działał w charakterze rewolucyjnym, bo gdyby nie on, gdyby nie wycofanie się Prus i Niemiec północnych z wojny przeciw Francyi, — nie święciłby tryumfów Bonaparte i Moreau, nie mógłby urzeczywistnić się związek nadreński, nie nastąpiłby upadek prastarej, dziedzicznej godności cesarskiej: — pokój bazylejski pociągnął za sobą to tak ważne następstwo, iż wykluczył Austryą z Niemiec i przyczynił się do zupełnego zreformowania ostatnich pod przewodnictwem Prus.

H. S.



Zmateryalizowanie społeczeństwa.

I.

Filozofia materyalistyczna została już całkowicie odrzuconą przez oficyalnych reprezentantów nauki. Profesorowie z katedr uniwersyteckich mówią o niej jako o zjawisku przeszłości, przyznając jej jedynie historyczne znaczenie. Wychowańcy wszechnic europejskich opuszczają audytorya z przekonaniem, że materyalistyczne koncepcye filozoficznej myśli już są dziś pogrzebane na zawsze, że duch ludzki przeszedł nad niemi do porządku dziennego.

A jednak pomimo tych wyroków śmierci, — gorzej nawet, bo nekrologów, — materyalizm żyje i silniejszy on dziś, niż kiedybądź indziej.

Wypchnięty z uniwersytetów nie stracił nic na swej żywotności, — przeciwnie, zyskał jeszcze na potędze, bo stał się najogólniejszym w inteligentnych sferach światopoglądem.

Przyjrzyjmy się jeno dzisiejszej publicystyce

zachodnio-europejskich krajów. Nie zajmuje się ona specyalnemi kwestyami filozofii. Nieraz jednak przychodzi jej mówić o zagadnieniach, wkraczających w dziedzinę etyki, psychologii jednostkowej i zbiorowej. Daje jej pohop ku temu sensacyjny proces, głośne odkrycie naukowe, efektowny wynalazek technologiczny, czy też nowa ekspedycya w głąb krajów nieznanych. Za każdym razem zapełniają się wtedy łamy dzienników utartemi ogólnikami o prawach fizycznych, co wszechświatem rządzą, o drugorzędności zjawisk duchowych, co są jedynie refleksem procesów fizyologicznych, o bezwarunkowej zależności wszelkich form społecznego bytu od materyalnych form produkcyi... Publicysta głoszący te zdania pewnym jest, że czytelnik przyjmie je z takim samym spokojem, z jakim przyjmuje twierdzenia, że ziemia się około słońca obraca, a skład chemiczny wody jest H_2O.

I nie dziw. W średnich i wyższych zakładach naukowych uczono go, że kolorów i dźwięków w świecie objektywnym nie ma, że są jeno takie lub inne drgania eteru, dłuższe lub krótsze fale powietrzne, co mu złudzenie tych zjawisk dają, że ciepło, elektryczność i ich przejawy, to jedynie ruchy atomów. A gdy przyswoił on sobie ten łatwo strawny, lecz gruby pokarm duchowy i zdobył patent na skończonego inteligenta, podają mu znów tę samą karmę dzienniki „co słodycz jego kawie, moc jego piwu nadają“.

Parę wszakże razy do roku przypomina sobie ów porządny, o wyrobionem stanowisku, stateczny mieszkaniec wielopiętrowej kamienicy miejskiej, że kraj, w którym żyje, posiada parlament, że on sam obdarzony jest prawem wyborczem i tem samem ma moralny obowiązek kontrolowania wybranych przez się deputatów. Polityczne jego sumienie z paromiesięcznego uśpienia budzi projekt jakiegoś nowego podatku, lub umowy dyplomatycznej o traktatach handlowych z którem z państw ościennych, czasem nowela szkolna, a już bardzo rzadko projekt reformy wyborczej lub praw dotyczących stowarzyszeń, prasy, wolności słowa*). Wtedy przerzuca on w kawiarni, klubie lub restauracyi dziennie całe dziesiątki pism, szukając w nich rad, wskazówek i informacyi co do prawdziwego stanu rzeczy.

A publicyści wszelkich odcieni przekładają mu odnośny projekt prawa na język monetarny, przekonywując go o stratach lub zyskach, które dlań wyniknąć mogą z nowego prawa. Jest to bodaj jedyny dogmat polityczny, na który się wszystkie obozy dziś zgadzają, że najpierwszem, podstawowem uzasadnieniem wszelkiego prawodawstwa, wszelkiej reformy państwowej jest wypływająca zeń korzyść materyalna. Niemcy, brutalniejsi lecz szczersi, nie żenując się, mierzą honor narodowy, oświatę i wolność słowa na talary, marki i guldeny. Francuzi zachowali dawną swą, przez wielką rewolucyę stworzoną retorykę polityczną. Lecz honor w ich ustach, to honor kupiecki, którego najgorszą plamą jest bankructwo, sprawiedliwością dla nich uczciwość kupiecka, co jeno legalnych zysków się domaga, a wolnością swoboda transakcyi. I takeśmy wszyscy do podobnego traktowania spraw publicznych przywykli, że nas to już ani smuci, ani dziwi. Takie to się nam wydaje naturalne, konieczne, ba! nawet jedynie rozumne, że wszelkie odwoływanie się do ideałów etycznych zwiemy marzycielstwem, romantyzmem niedozwolonym w polityce. Dopiero, gdy przypadkiem zetkniemy się bliżej z publicystyką polityczną pierwszej połowy naszego stulecia — z pamfletami Heinzena, Struwego, Wirtha, z mowami Feuerbacha, Kossutha widzim naraz ze zdziwieniem, że można do narodów przemawiać, porywać je, a nawet roznamiętniać, wzywać do poświęceń największych w imię celów idealnych, że narody „ideologów“ tych uważnie słuchają i słowa ich rozumieją dobrze, choć nie ma w nich mowy o interesach materyalnych.

A przecież były to czasy, w których materyalizm posiadał najdzielniejszych przedstawicieli w filozofii. Z negacyą dawniejszych form społeczno-politycznych łączyło się przeczenie poprzedniej filozofii, z szukaniem nowych dróg życia narodów szukanie nowych torów dla filozoficznej ich myśli. Apostołowie materyalistycznej filozofii byli uczciuowymi idealistami, co bez wachania poświęcali swój dobrobyt, spokój i wolność osobistą w imię swych zasad. Logiczna ta sprzeczność nie jest bynajmniej sprzecznością psychologiczną. Stanowisko rewolucyjne nowonarodzonej, walczącej o swe prawa burżuazyi, musiało pchać teoretyków jej do walki z wszelkiemi przejawami dawnej cywilizacyi. Jednym zaś z nich była idealistyczna filozofia, we Francyi Bogu, w Niemczech państwu służąca, chociaż i w Niemczech nie zapominał Hegel swe prawo tezy, antytezy i syntezy z dogmatem Trójcy św. połączyć. Do negatywnego tego względu przyłączał się jeszcze pozytywny motyw. W rzeczy bo samej ówczesny liberalizm walczył o zwycięztwo potęgi pieniędzy nad przywilejem urodzenia, o wolność konkurencyi, o prawo przedstawicielstwa w rządach interesów ekonomicznych, jednem słowem o tryumf bezpośredniej siły materyalnej, streszczającej się w bogactwie, nad pośrednią siłą materyalną, co przez urodzenie dawała przywileje potomkom mocniejszych niegdyś pięścią zaborców. Lecz ci, co o ten tryumf potężniejszych sił ekonomicznych walczyli, sami byli przedewszystkiem żołnierzami nowych idei. Walczyli oni nie w imię swych zysków osobistych, jeno o prawa swej klasy. Pracując dla tryumfu egoistycznych dążeń swej w a r s t w y, sami wyzbywali się egoizmu i n d y w i d u a l n e g o. I tylko ludzie pełni zapału i wiary w swe siły mogli stworzyć tak radykalny, tak do ostatnich tajników bytu sięgający system filozoficzny, jakim jest materyalizm. Nie było dla nich granicy, przed którą by się musieli zatrzymać. Idealizm dochodził zawsze w ostatniej swej instancyi do Boga — mniejsza jak rozumianego — zawsze niepojętego — materyalizm sądził, iż materyę samą jest w stanie zrozumieć.

Dziś jest inaczej. Liberalizm stał się panującym, równocześnie jednak zmienił się on zasadniczo. Odrzucił swe przesłanki, o punkcie wyjścia swych żądań zapomniał, a zachował jeno swe konsekwencye. Prawa człowieka mało go obchodzą, neguje je nawet z dniem każdym gruntowniej; natomiast pilnie strzeże przywilejów, które potęga ekonomiczna gwarantuje posiadaczom narzędzi i materyałów produkcyi.

Takiż sam los spotkał i materyalizm. Gdy ostatecznie już zwyciężył, gdy stał się panującym w „inteligentnych“ sferach światopoglądem, gdy przestał być oznaką „nielojalności“ swych wyznawców, odrzucił on wtedy swą ontologiczną i teoretyczno-poznawczą podstawę, zachował jedynie konsekwencye swe w dziedzinie etyki, psychologii i socyologii i nazwał się pozytywizmem.

II.

Dziwną jest dola pozytywizmu. Żadna inna chyba doktryna filozoficzna nie była tak powszechnie, jak on, niezrozumianą. Jedni, mianowicie idealiści, identyfikowali go z materyalizmem, — drudzy, szara masa jego wyznawców, widzieli w nim silniejsze nawet niż w idealizmie przeczenie materyalizmu.

I jedni i drudzy mylili się gruntownie, bo rozpatrywali go jako zjawisko samo w sobie. Zrozumieć zaś pozytywizm można wtedy tylko, gdy go związem w ścisłą łączność z całą kulturą, która go wyłoniła. Rozpatrywany oddzielnie jest on pełen sprzeczności niewytłomaczalnych. Jako produkt swej epoki jest całkiem jasny i wyraźny.

Zasadnicza sprzeczność pozytywizmu polega w agnostycyzmie jego z jednej, a monizmie z drugiej strony. Najpierwsza przyczyna wszechrzeczy jest podług niego niepoznawalną dla umysłu ludzkiego.

Jeśli jednak „les choses primaires“ są poznaniu naszemu niedostępne, nie możemy tem samem wiedzieć, czem jest wszechświat, niezależnie od naszej świadomości. Nietylko nie mamy wtedy prawa za istotę jego ducha lub materyę uznawać, lecz również nie możem go zwać jednością lub wielością.

Sprzeczność ta stała się w swych konsekwencyach jeszcze więcej rażącą i widoczną. Monizm musiał mianowicie przybrać formę monizmu materyalistycznego. Z natury bowiem rzeczy — odrzuciwszy wszelką ontologię — pozytywizm główną wagę położył na nauki konkretne. Będąc zaś koncepcyą monistyczną, musiał równocześnie dążyć do połączenia wszystkich poszczególnych dyscyplin w jednę całość, szukając łącznika, co je wiąże z sobą nie poza niemi, lecz w nich samych. W ten to sposób powstaje owa sławna klasyfikacya nauk Comta i Spencera. Typem wszakże nauk konkretnych są nauki przyrodnicze, położył je też pozytywizm w podstawie swego systemu nauk. — Niezbędną tego konsekwencyą jest ciążenie pozytywizmu do materyalistycznego traktowania zagadnień psychologicznych i społecznych. Chcąc je bowiem z naukami przyrodniczemi w jedną całość połączyć, musi on je tym ostatnim podporządkowywać, a tem samem w zjawiskach życia duchowego, indywidualnego i zbiorowego widzieć jedynie przejawy praw fizycznych. Klasycznym dowodem powyższego jest zupełne ignorowanie przez Comta psychologii, której nawet w swej klasyfikacyi nauk nie pomieścił, oraz pogląd Spencera na społeczeństwo jako na istotę materyalną, co w podstawie jego teoryi organizmu społecznego leży.

W taki to sposób pozytywizm, — co w założeniu swem wszelkiej, a więc i materyalistycznej, ontologii przeczy, — dochodzi w rozwoju swym do nawskroś materyalistycznej psychologii i socyologii, oraz wynikowej obu tych nauk — etyki.

W sprzeczności tej leży źródło niezrozumienia pozytywizmu. Jest on bowiem materyalizmem i nie jest nim zarazem.

I dziwnem musi nam się w pierwszej chwili zdawać, że tak dzielne zkąd inąd umysły jak Comta i Spencera dopuściły się tak podstawowej i wyraźnej niekonsekwencyi. — A jeszcze dziwniejsze, że pomimo rażącego tego błędu zyskał pozytywizm tak powszechne w kołach inteligencyi uznanie.

Lecz również dziwne, że liberalizm, co wolność, równość i braterstwo wypisał był niegdyś na swym sztandarze, dziś stwarza prawa wyjątkowe przeciwko robotnikom, Polakom, Alzatczykom, broni istniejącej w Austryi ordynacyi wyborczej, popiera cenzurę prasy, uznaje monopole finansowe. A przecież to wszystko przeczy i wolności i równości i braterstwu.

Ale bo też te dwa zjawiska ducha ludzkiego — liberalizm dzisiejszy i pozytywizm jednę i tę samą mają historyę i taką genezę. — Oto są one koniecznemi produktami dzisiejszej cywilizacyi, co się wyłoniła ze zwycięstwa stanu trzeciego i reprezentowanych przezeń dążności gospodarczych.

W dziedzinie filozoficznej myśli, zarówno jak i gospodarczych i politycznych swych dążności, cywilizacya dzisiejsza żąda przedewszystkiem spokoju i porządku. Przemieniwszy się z żołnierza liberalizmu w obywatela korzystającego z udzielanych mu przez liberalizm przywilei — zapragnął przedstawiciel klas panujących niezamąconego niczem spożywania płodów nauki.

A cóż mu je łatwiej zapewnić może jak rezygnacya ze wszelkich dociekań ontologicznych? I ztąd to pochodzi agnostycyzm pozytywizmu. Wyparła się burżuazya ontologii materyalistycznej, bo myśl sięgająca do głębin wszechświata zbyt śmiała jest, zbyt niespokojna. I nietylko ontologii znać ona nie chce, lecz i wszelkich dróg, co do niej prowadzą; — a hasłem jej: „precz z metafizyką!“

Agnostycyzm obecnej burżuazyi, t. j. pozytywizmu, — nie jest jak widzimy rezultatem logicznej analizy siły naszego poznania, lecz tajemną dążnością ducha spokojnych, dobrze sytuowanych obywateli. Każdy z nich, skromy w swych ambicyach, nie sięgający po nad to, co mu empirya daje, raduje się z poznania, że ciepło, i światło, i elektryczność, i reakcye chemiczne już dlań zagadką być przestały, a prawa ich, chociażby jedynie w postaci hypotez są mu wiadome.

I jeszcze więcej cieszy się, że wszystkie

*) Patrz ostatnia kadencya sejmu niemieckiego: podatek tytuniowy, a ustawa antyprzewrotowa.

te teorye z dniem każdym w tysiącach nowych wynalazków sprawdzian swój znajdują. Z dumą przeciwstawia on dzisiejszą „pozytywną“ wiedzę dawnym bezpłodnym badaniom „okresu metafizycznego“, z których żadnej realnej korzyści nie było. Chełpi się setkami nowych farbników, dostarczanych mu przez chemię, nowemi maszynami dynamo-elektrycznemi, które fizyka i mechanika stwarza, — odkryciami nieznanych jeszcze kultur bakcylusów w laboratoryach medycznych lub przyrodniczych. — Ale bo też chce on przedewszystkiem w spokoju ze zdobyczy wiedzy korzystać i to ze zdobyczy konkretnych, namacalnych, materyalnych — co mogą ludziom ułatwić, uprzyjemnić życie. Dociekania zaś przyczyn wszechrzeczy sen odbierają, humor psują, niepokój na duszę nawodzą.

Tak więc żądza spokoju nakazała dzisiejszym inteligentnym klasom wyrzec się poznania „rzeczy pierwszych“, hołdować monizmowi, co wszystko w jedną piękną całość łączy, żadnych niepokojących luk nie pozostawiając, wreszcie w podstawie całokształtu naukowego gmachu położyć nauki przyrodnicze. — Nic zaś historyczna, co ją z pokoleniem rewolucyi mieszczańskich wiąże, stworzyła na pokrycie tej rażącej sprzeczności ową nader wygodną lecz również płytką zasadę: „Materyalizm jako doktryna ontologiczna jest błędny, lecz jako metoda badań jest on w naukach pozytywnych całkiem uprawniony“.

Czyż więc nie mieliśmy racyi, że materyalizm dziś żyje i panowanie jego powszechniejsze, niż kiedybądź było.

Wyparł się on swego punktu wyjścia, lecz zachował wszystkie swe konsekwencye.

Stracił on na głębokości filozoficznych swych podstaw, lecz w zamian za to stał się wyznaniem wiary wszystkich lojalnych obywateli kraju. Zmienił nawet swą oficyalną nazwę — tem silniejsze jednak zapuścił korzenie w moralności indywidualnej i społecznej nowożytnych narodów.

Str.

Ze Szląska Polskiego.

(Tęsknota za zielenią — Duchy koronę polską odkuwające. — Żądanie zakazu odbywania teatrów polskich. — Brak polskiego pisma dla robotników. — Niedostatek agitacyi osobistej.)

Kto się urodził w ziemi wieluńskiej, której cechą charakterystyczną są niezrównanej zieloności łąki, dobroczynne dla oka, przecudne łąki, a jak ja obecnie siedzi niby w kuźni piekielnej, w Królewskiej Hucie, gdzie wszystko czarne, jak ten węgiel kamienny niezliczonemi krociami z ziemi wydobywany, ten jakąś ogromną niemal chorobliwą tęsknotą rwie się do łąk i zieleni, której tu ani śladu, a o której serce we śnie i na jawie bezustannie śni i marzy.

Jasność słoneczna i gwar dzienny nie pozwala za dnia dostrzedz istotnych znamion tutejszej okolicy. Późnym wieczorem dopiero lub nocą przedstawia się oczom potężny i w swoim rodzaju wspaniały widok. Jak okiem sięgniesz, nic jak kominy dymiące, ogniem buchające piece, światło elektryczne, przeraźliwy świst piszczałek parowych, niezliczona ilość młotów spadających, kotłów brzęczących, syk pary, turkot lokomobil, — a wszystko to niby na tle zorzy skąpane w łunie ognistej, bijącej z tysięcy świateł i piecy, dudni, skrzypi przeraźliwie, syczy i trzaska. Bezwiednie prawie nasuwa nam się pytanie: czego oni tak się spieszą, co kują tak zawzięcie? A jeżeli znasz ducha, który te czarne postacie około tych piecy i ogni się krzątające ożywia, jeżeli uczciwie po polsku czujesz, mimowoli wspomnisz na podanie ludowe, tam, gdzieś w Tatrach zasłyszane nad pięciu stawami, i zapytasz się, czyli to nie duchy, koronę polską odkuwające... A tak, istotnie! Po uznojonych twarzach, po ramionach silnych i od wysiłku nabrzękłych poznasz, że w tych tłumach tkwi jakaś siła przyszłości, przed którą zadrżą nawet granity. Większość tu coprawda „Szlązaków polskiego języka“, lecz i pokaźna liczba tych, którzy nazwę Polaka z chlubą noszą i którzy kując młotem wiedzą, że i oni zapełniają tę szczerbę pięciowiekową, powstałą w koronie przez oderwanie Szląska od pnia macierzystego.

„Königshütter Ztg.“ czuje przez skórę, że nie wszystkie uderzenia tych czarnych postaci celu chybiają. Gniewa ją praca, gniewa ją i ich zabawa. Niedawno temu donosiła żałosnym głosem, że aż trzy przedstawienia teatralne polskie w jedną niedzielę w Król. Hucie się odbyły. Aż w trzech miejscach „w u r d e p o l n i s c h g e m i m t“, a dodaje w końcu, że rząd na tego rodzaju rzeczy w Król. Hucie, którą niby fortecę na polskim oceanie przez Niemców i dla Niemców wzniesiono, wogóle pozwolić nie powinien. Coraz to lepiej! Panowie zaborcy drżą na widok każdego pieca polskim ogniem podsycanego i pragnęliby go w puch rozbić pałką policyjną a dzielnych palaczy w własnych piecach usmażyć.

Brak tu niestety dostatecznej liczby inteligencyi, którąby chciała i potrafiła stawić czoło wycieczkom zaciekłych germanizatorów w guście „Königshüterki“. Stan robotniczy polski, w tutejszej okolicy najliczniej może się znachodzący, niema dotąd swego organu. Jako dodatek do „Katolika“ wychodząca „Praca“, zresztą bardzo starannie redagowane pisemko, zajmuje się jedynie ekonomicznemi sprawami robotników, zostawiając potrzeby obyczajowe a mianowicie i stronę narodowościową na łasce losu. Czas by był rozszerzyć ramy „Pracy“, cieszącej się w kołach robotniczych zasłużonem zaufaniem, do rozmiaru samodzielnego i w zastósowaniu do potrzeb polskiego robotnika wszechstronnego pisma. Osobista agitacya redaktorów resztę powinna zrobić. Patrzeliśmy na takąż agitacyą w Opolskiem i dziś śmiało powiedzieć można, że Opole, o którem nie bez pozorów trafności powątpiewano, czy utrzyma pismo polskie, dziś pod względem polskości prym trzyma, jeżeli nie co do liczby, to z całą pewnością co do owoców pracy. Osoba każdego redaktora, już dzięki tytułowi swemu, niepospolitem cieszy się zaufaniem. Z zaufania tego i przywiązania ludu, należy korzystać. Ruch socyalistyczny nie byłby urosł do dzisiejszych rozmiarów, gdyby na usługach swoich nie miał pod dostatkiem światłych i odważnych apostołów. Duch czasu wymaga agitacyi osobistej w równej mierze od kupca, który nie czekając na konsumentów z dalekich stron z próbkami w domu nas nachodzi, jak i od redaktora, który osobą swoją i postępowaniem szerzone w swem piśmie idee ujawniać powinien.

Agitacya na Szląsku zmienić się musi w dogmat narodowy, a w pierwszych szeregach potężniejącej armii „budzicieli i obrońców“ kroczyć powinni polscy redaktorzy.

To, co dla każdego innego śmiertelnika jest stratą, wydatkiem, poświęceniem, to dla redaktora staje się zarobkiem. Wyjechać gdzieś na zebranie, aby zapalić do sprawy, ducha przebudzić, znaczy dla redaktora tyle, co zjednać sobie tylu a tylu nowych abonentów i marek przedpłaty. Więc bez wyrzekań na trud szerzenia oświaty, dalej do agitacyi osobistej, bo to podwójny zysk: zasługa około polskości i chleb powszedni. Oby polscy robotnicy na Szląsku mogli się takich przywódców czemprędzej doczekać, — a i dla ludu wiejskiego ich nigdy za mało.

Chim.

KRONIKA BERLIŃSKA.

Berlin, d. 9 lipca.

(Akdemia umiejętności i ostatnie jej posiedzenie. — Towarzystwo kultury etycznej i gmina wolnomyślna. — Wolnomyślna nauka religii dla dzieci. — Kobiety w uniwersytecie).

Pomimo letniej kanikuły ruch społeczny i stowarzyszeniowy nie ustaje. Nietylko robotnicze stowarzyszenia odbywają codziennie kilka zgromadzeń, gdzie dysputy prowadzone są z zapałem, ale i lokale towarzystw naukowych lub społecznych nie świecą bynajmniej pustkami. U członków partyi robotniczej łatwo zrozumieć to pomijanie wszelkich przykrości, spowodanych gorącem, duszną atmosferą, a często koleją miejską, przejeżdżającą nad głowami. W Berlinie bowiem panuje ten miły zwyczaj, że restauracye szukają sobie lokalów w budowie stanowiącej podstawę dla toru kolei miejskiej. Nerwy Berlińczyków nie cierpią na tem bynajmniej! Robotnicy zahartowani są do wszelkiego rodzaju niewygód i przykrości, a zresztą zgromadzenia ich mają cele realne, walkę dnia. Ale że taki cel nie jest koniecznym warunkiem dla zgromadzenia ludzi, pomimo, że zieleń i chłodny powiew wieczora nęcą ich do „Tiergartenu“ lub za miasto, tego dowodem natłok na zgromadzeniach z celem naukowym lub pouczającym.

Oto ostatnie posiedzenie berlińskiej akademii umiejętności napełniło po brzegi maleńką salkę „pod Lipami“, nie przeznaczoną snać dla ciekawej publiczności, lecz dla uczonego, a niezbyt licznego areopagu. Nie troszczą się uczone ciała o wygodę, a nawet o przyciągnięcie słuchaczów. To nie popularyzacya wiedzy, lecz nauka dla nauki, a taka zawsze w niewielkiem zamyka się kole. Paryscy nieśmiertelni obradują w tak małej sali, że publiczność siedzi wśród akademików; a nieraz z poza głów obielonych siwizną wychyla się ośmnastoletni buziak słuchaczki, przybyłej na posiedzedzenie publiczne w eleganckim, zarzuconym kwiatami kapelusiku. W Berlinie herezye podobne się nie dzieją: publiczność oddzielona jest od akademików, poważny, wyrzeźbiony misternie profil Mommsena, charakterystyczna głowa greckiej hermy, osadzona na małm korpusie Curtiusa, wreszcie przebiegła i mądra twarz zręcznego polityka w nauce Schmollera mają za tło tylko poważne, białe ściany.

Akademia, założona przed stu niemal laty przez słynnego filozofa i polyhistora Leibniza, twórcę akademii wiedeńskiej i petersburskiej, obchodziła 4 lipca zgromadzeniem publicznem stuletnią rocznicę jego śmierci. Otworzył je Mommsen, przemawiający o stosunkach państwa do nauki. Mnożące się wciąż zadania obu tych nowoczesnych potęg oddalają je od siebie. Minęły te czasy, kiedy minister pruski pracował nad zasadami języka K a w i, lub redagował M o n u m e n t a G e r m a n i a e h i s t o r i c a e. Dziś polityka pochłania całego człowieka, a nauka zazdrośnie strzeże swych podwoi przed dyletantami. Z nowych członków przyjęci zostali filozof prof. Strumpf, jeden z ulubionych akademickich nauczycieli, jako następca Zellera, Eryk Schmidt, profesor nowoczesnej literatury niemieckiej i egiptolog Adolf Erman. Każdy z nich złożył poniekąd swoje naukowe wyznanie wiary. Dowiedzieliśmy się zatem, że filozofia unika dziś już szerokiej syntezy, zwracając się do badania pojedyńczych zjawisk duszy i przyjmując przyrodnicze metody, że egiptologia coraz ściślej bada wiarogodność swych pomników i odrzucając wielką ilość mniemanych odkryć, zadowolić się musi małą liczbą pewnych i sprawdzonych krytycznie wiadomości. Eryk Schmidt zaznaczył znaczenie i wpływ na utwory literackie indywidualności, która je właściwie zabarwia niezależnie od Taine'owskiego m i l i e u, dziedziczności lub wychowania.

Na mowy akademików odpowiedział Mommsen. Wreszcie sędziwy Dubois-Reymond dłuższe poświęcił wspomnienie dla przyjaciela młodości, genialnego Helmholtza.

A teraz ze świątyni, w której wiedza się przygotowuje, zstąpmy tam, gdzie pragnie ona promienie swe rozszerzyć na masy. Istniejące od lat paru Towarzystwo „K u l t u r y e t y c z n e j“ postawiło sobie za zadanie, niezależnie od odrębności warunków życiowych, od religijnych i politycznych przekonań, szerzyć zasady kultury etycznej. Celem jego jest rozpowszechniać panowanie sprawiedliwości, prawdy, ludzkości, wzajemnego szacunku.

W tym celu stara się Stowarzyszenie skupiać jak najwięcej członków, zobowiązując ich do zachowywania pewnych prawideł moralnych, a wśród jak najszerszej masy popularyzować wiedzę i zrozumienie form i urządzeń życia społecznego, gospodarczego i politycznego. W tym celu towarzystwo urządziło Czytelnię bezpłatną pism i książek, wydaje liczne i śmiałe broszury, członkowie jego wygłaszają odczyty, z któremi łączą się dłuższe dyskusye.

Odczyty, do których dostęp wolny jest dla każdego, odbywają się w odrębnym własnym lokalu Towarzystwa. Zdarzyło się waszemu korespondentowi być na odczycie dr. Penziga „O anarchistach“. Sam temat odstraszyłby publiczność poznańską nietylko od odczytu, ale i od ulicy, na której się tak heretyckie tematy roztrząsają. Dr. Penzig bowiem mówił o teoretycznych zasadach anarchizmu, o związku jego z filozofią indywidualistyczną, anarchistów nie wyklinał, uważając ich za zjawisko współczesne, które, jako złe, czy dobre, zrozumieć trzeba, skoro raz jest. Wśród publiczności przeważały kobiety, kobiety zajmują się też przeważnie w czytelni, gdzie członkowie Towarzystwa pełnią kolejno obowiązki bibliotekarzy.

Ale i na tygodniowych zgromadzeniach „wolnomyślnej gminy“ publiczność jest w połowie przynajmniej kobieca. Słowarzyszenie to bardzo pokrewny z poprzedniem nosi charakter. Gminy wolnomyślne rozsiadły się już po wielu miastach niemieckich, a wszędzie mają one charakter filozoficzno-religijny, zastrzegając przecież wyraźnie, że pod religią rozumieją nie stosunek do istoty pozaświatowej i zagrobowego życia, ale mniej lub więcej świadome czysto ludzkie dążenie istoty ludzkiej do harmonijnego stosunku z otaczającym nas światem na zasadzie prawdy i sumienności. Dążenie gmin scharakteryzujemy słowami gminy frankfurtskiej, które wydają się nam najlepiej je określać: Stowarzyszenie wolnomyślne ma na celu szerzyć światopogląd oparty na wiedzy i rozumie i popierać wszelkie usiłowania, mające na celu dążenie humanitarne i oświatę, wyłączając przecież wszelkie wyraźne stanowisko polityczne członków.

Gmina berlińska, o której pisaliśmy już kilka tygodni temu, malując przebieg zgromadzenia wielkanocnego, urządza co niedzielę dwa zgromadzenia. Pierwsze przeznaczone jest dla dzieci i stanowi rodzaj wykładu katechizmu, drugie obok śpiewu i muzyki daje zawsze wykład filozoficzny lub naukowy.

O ile zgromadzenia dla starszych dodatnie czynią wrażenie, o tyle nauka dla dzieci przygnębiające wspomnienie pozostawia. Maleństwo, bo dużo tu dzieci niżej lat 10-ciu, śpiewa pieśni o harmonijnej melodyi. Zgoda, ale, gdy opierając się na słowach pieśni świecki kaznodzieja wejdzie na katadrę i tłomaczyć zacznie ducha czasu, gdy wykłada, że religia ich, to nie żaden zakrzepły dogmat, ale wiecznie zmienne, zależne od okoliczności prawdy, to już sympatyzować z nim nie można. Dzieci się nudzą, mało rozumieją, ale to i lepiej: dla umysłu dziecinnego trzeba stałej prawdy, choćby dogmatu i nakazu. Na krytykę będzie czas potem, a teraz chodzi o strawę dla uczucia i fantazyi, o zasady postępowania! To też dopóki Stowarzyszenie wolnomyślne prawd takich nie wytworzy, lepiej, że 5 milionów dzieci, które w Prusach uczęszczają obecnie do szkół ludowych, wychowuje się religijnie.

Staramy się informować czytelników naszych o postępach kwestyi przyjmowania kobiet do uniwersytetu. Otóż liczba słuchaczek na wszechnicy berlińskiej rośnie z dniem każdym, dziś liczą ich już 15. Przed kilku dniami zaś wyszedł reskrypt ministra oświaty Bossego, że każda kobieta przyjętą być może za zezwoleniem rektora, odpowiednich docentów i z potwierdzeniem ministra. Minimalną kwalifikacyą jest, jak się zdaje, seminaryjna matura. Są przecież i takie, co pomijają odważnie te formalności i zjawiają się w audytoryach; wzbudza to przecież niezadowolenie profesorów. Trudno się temu dziwić, bo jak zauważył żartobliwie jeden z największych przyjaciół studyów kobiecych, wobec panujących w Berlinie zwyczajów każdy student sprowadzićby mógł damę swego serca... Przecież i „pod Lipami“ wygodnie spotkać się można... Wybaczcie ten swawolny żarcik czytelnicy, pochodzi on z ust filozofa!

S. Z. D.

NA WYŁOMIE.

(Ks. kardynał Ledóchowski. — Wspomnienia. — Zmiana sytuacyi. — Stanowisko duchowieństwa w życiu politycznem. — Herezya i protest.)

Mieczysław Halka Ledóchowski — oto nazwisko rozbrzmiewające dzisiaj na całem obszarze prowincyi polskich. Łączą się z niem wspomnienia bohaterskich bojów i wielkich poświęceń, — cała tragedya walki kulturnej, krzyk ludu zdeptanego brutalną stopą Bismarcka i Brennusowe „V a e v i c t i s“ zaborców.

A przecież w tej walce śmiertelnej mało serc zamarło, — męczeństwo rozpala iskry w pożar olbrzymi, — ludzi nie w karłów lecz bohaterów zamienia. I on, jubilat dzisiejszy, gdy z dalekiej obczyzny do ziemi naszej zawitał, spoglądał na nas jak na cudze plemię. Kosmopolityczny sługa Kościoła ojczyznę swoją widział w watykanie. Cudzoziemiec z wychowania nie kochał ani ziemi polskiej, ani tego ludu, o którym niegdyś śpiewał poeta: „Rozwieje was gniew boży jako lekkie plewy“. A potem zaczęła się męka. Widział ukrzyżowanie nasze i ciernie i łzy polskie, i nagle obok kapłana stającego w obronie kościoła, zbudził się w Ledóchowskim Polak uśpiony kosmopolityzmem rzymskim i kulturą obczyzny. Jest w każdym człowieku nieomal kryształowe źródło patryotyzmu, często bijące strumieniem potężnym, czasem zagrzebane gdzieś w głębinach duszy, — ale są czarnoksięzkie zaklęcia, które jak niegdyś laska mojżeszowa ze skały twardej wydobędą źródło i popłynie ono falą szeroką, gdy Izrael usycha z pragnienia. Tem zaklęciem świętem stała się dla Ledóchowskiego męka narodu, — tą laską mojżeszową maczuga Bismarcka. A potem porwała go ręka zaborcy i zamknęła w murach ostrowskiego więzienia. Walczył i cierpiał za K o ś c i ó ł, lecz gdy w tej walce i w tem cierpieniu ujrzał lud p o l s k i przy sobie, gdy wspólna z P o l s k ą była jego męka, gdy płacz p o l s k i ogromnem łkaniem płynął ku niemu przez więzienne bramy, wtedy na mocy żelaznych praw psychologicznych ten międzynarodowy sługa Watykanu poczuł się synem ojczyzny. I zabrał ze sobą do Rzymu tę miłość dla Polski i nie zamarły w kardynale rzymskim wspomnienia i serce p o l s k i e g o arcypasterza. Tam z stolicy Piotra przesyłał on nieraz ojczyźnie polskiej widome znaki pamięci, i nieraz, gdy na chmurnem niebie ojczyzny zajaśniał mały promyczek nadziei, czuliśmy wszyscy, że rozpaliła go ukryta ręka Ledóchowskiego. Więc za to o d r o d z e n i e patryoty, za te skrzydła opiekuńcze, któremi nietylko kardynał kościół, lecz P o l a k p o l s k i e świątynie otacza, my dzisiaj łączymy się w jubileuszowym hołdzie z całem społeczeństwem i kreślimy słowa: Cześć Ledóchowskiemu!

Z okrzykiem takim kojarzyć się muszą wspomnienia; — upłynione godziny życia narodowego plączą się z obrazami chwili obecnej, budząc tysiące myśli, porównań, refleksyi. Gdy Ledóchowski zawitał do kraju, duchowieństwo wielkopolskie dziwny przedstawiało widok. Wśród zaciętych bojów stronnictw poznańskich rozpolitykował się kler nasz, ciągnąc rydwany tej lub owej partyi. Jedni, zszeregowani pod sztandarem „białych“, stronnikom swoim obiecywali błogosławieństwo niebios, a karami piekła grozili przeciwnym obozom, — inni powiewali chorągwią czerwoną, wołając zuchwale, że tylko na nią prawy syn kościoła przysięgać powinien. Każdy stósownie do temperamentu, przekonań, sympatyi osobistych służył temu lub owemu stronnictwu, a w tej walce zaciętej, w tem wyzyskiwaniu sukienki duchownej gasła aureola kapłaństwa i powaga kleru z dnia na dzień się obniżała. Bystre oko arcybiskupa Ledóchowskiego zorjentowało się natychmiast w położeniu. Widział on, że z politykomanii duchowieństwa wyrasta mina niebezpieczna, która rozsadzić może fundamenty Kościoła, widział, że powiewanie suknią duchowną jako argumentem w szermierkach politycznych może suknią tę narazić na splamienie, widział wreszcie, że namiętności polityczne pochłaniają miłość chrześcijańską, której reprezentantem i stróżem winien być kapłan według nauki Chrystusa. I oto zabrzmiał z pałacu arcybiskupiego rozkaz, aby duchowieństwo wycofało się z życia publicznego i na kościele, na krzewieniu zasad religijnych ograniczyło działalność swoją. Reskrypt arcybiskupi odniósł skutek pożądany. Sukienki duchowne znikły z widowni politycznej, i ścichły dysonanse, które nieraz parafią na dwa wrogie dzieliły obozy, niekiedy dwór przeciw plebanii rzucały i rozbrzmiewały podwójnym okrzykiem: „Z księdzem!“ lub „Przeciw księdzu!“

A dziś? „Andere Vögel, andere Lieder!“ Dziś nowe ozwały się hasła i nowe prądy grają w społeczeństwie. Dziś duchowieństwo w politycznych bojach opuszcza stanowisko cichego widza i z animuszem rycerskim do czynnej podąża służby, dziś, gdy lojalny „ład i porządek“ staje do walki z ideą narodowo-demokratyczną, na czele zastępów z roziskrzonem okiem kroczy kler poznański. Jeżeli jednak przed erą Ledóchowskiego kapłani w różnych stawali obozach i, posłuszni przekonaniom lub upodobaniom swoim, białym i czerwonym służyli bezkarnie, to dzisiaj sytuacya o tyle się zmieniła, że księdzu politykującemu tam tylko wolno stawać do apelu, gdzie „ł a d i p o r z ą d e k“ sztandar swój rozwija. Dzisiejsze duchowieństwo, wstępujące na szańce życia publicznego, to nie żołnierze różnych obozów, lecz wielka armia ugodowo-konserwatywna, wroga tym wszystkim, którzy „ładu i porządku“ tam uznać nie mogą, gdzie etykieta ta osłania oligarchię jawnych i tajnych krzewicieli rafinowanego lojalizmu. Ta rola duchowieństwa staje się niebezpieczną przez wzgląd na powagę kapłaństwa, rzucającą przywiązanie ludu do kościoła na szale polityczne, a niebezpieczniejszą jeszcze, gdy opozycya do duchownych reprezentantów ugodowo-konserwatywnej polityki zyskuje z ust kleru wyraźne piętno religijnego odstępstwa, bluźnierstwa i walki z kościołem. Tendencye takie rozwijają się z przerażającą szybkością, pielęgnowane starannie i wynagradzane przez możnowładzców dyplomacyi naszej. Zrazu występowały one z maskowanem obliczem, dziś, rozzuchwalone, już się nie kryją w karnawałowych dominach i niekiedy otwarcie naturalnym głosem opowiadają ewangelie swoje.

Przypominam sobie interesującą dyskusyę, prowadzoną w niedalekiej przeszłości z jednym z młodych kapłanów. Chodziło o założenie ludowego pisemka, które nosić miało tytuł: „Nowy Orędownik“ (sic) i w tym celu sproszono na posiedzenie garść inteligencyi poznańskiej. Mówiono o programie i poruszano oczywiście kwestyę stosunku duchowieństwa do polityki, a w toku dyskusyi jeden z lekarzy miejscowych w takich mniej więcej odezwał się słowach:

— „Nie odmawiam duchowieństu prawa uczestniczenia w życiu politycznem, ale poczuwam się do obowiązku zapisać w programie naszym jedno zastrzeżenie: Ksiądz na arenie politycznej staje się zwykłym obywatelem, nie ma prawa do wyjątkowego szacunku, ponosić musi wszelkie konsekwencye stronniczych namiętności i nie może pod żadnym warunkiem wygrywać powagi kapłańskiej jako politycznego atutu“.

Słowa te nie zjednały sobie uznania młodego kapłana, — wychowańca „nowej szkoły“.

— „Tego zaakceptować nie mogę, — odrzekł głosem nieco zirytowanym — kapłan ani na chwilę kapłanem być nie przestaje i dla tego wszędzie żądać musi tego szacunku i tych przywilejów, które się sukni duchownej należą. „Paś owieczki moje“ — powiedział Chrystus, a pasterstwo nasze nie kończy się na progu kościoła.“

— Więc żądacie posłuszeństwa w polityce? — przerwał mu lekarz.

Ksiądz zaambarasował się:

— Tak nie powiedziałem, ale jako nauczyciele i kierownicy ludu nie zstępujemy do rzędu zwykłych obywateli, jak pan się wyraziłeś, lecz zajmujemy stanowisko wyjątkowe i mamy prawo do wyjątkowego poważania.

Ponieważ dyskusya stawała się drażliwą,

więc ludzie zaczęli według poznańskiego zwyczaju chrząkać i zagadywać, aż w końcu przerwała się nić interesującej polemiki. Słowa jednak przytoczone powyżej, i to wszystko, co w gardle kapłana uwięzło, lecz dla ludzkiej domyślności wygórowanych nie stawia wymagań, — komentarzy nie potrzebują. Tendencye kleru i ten prąd, który ogarniać zaczął społeczeństwo, wystąpiły niemal bez maski, a jeżeli dzisiaj właśnie to przypominam i dzisiaj dzwonię na alarm, to skłoniły mnie do tego słowa, wyczytane świeżo w organie duchowieństwa, słowa, odsłaniające takie horyzonty kościelnej polityki, przed któremi zadrżeć musi każde szczerze narodowe serce. Oto zdania „Kuryera Poznańskiego“:

„Pragnąć należy gorąco, ażeby prasa nasza pozbyła się zacietrzewienia narodowościowego i oceniała wszystko z trzeźwego, jedynie właściwego punktu widzenia interesów katolickich, boć one to obejmują całkowicie interesa narodowe.... I u nas coraz szersze koła zaczynają rozumieć potrzebę zapatrywania się na sprawy narodowe przez pryzmat katolicki“.

Oto wyznanie organu duchowieństwa! A jeżeli kler nasz reprezentuje istotnie taką politykę i jeżeli żąda, aby święcenia kapłańskie stały się rekomendacyą i „Imperatywem“ takich przekonań, to obowiązkiem naszym tem energiczniej rzucić rękawicę hegemonii kościoła w życiu narodowem.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Nekrology „Świata“. Zdolny publicysta lwowski *Józef Bornstein* poświęca w „Myśli“ następujące wspomnienie świeżo zwiniętemu, a nader starannie redagowanemu dwutygodnikowi „Świat“:

„Faktem jest chyba stwierdzonym dostatecznie, że Galicya zdobyła sobie Herostratową niemal sławę „generalnej grzebaczki“ każdego objawu literacko-artystycznego, najniewdzięczniejszego gruntu pod szlachetny i miazmatami stronniczemi nie przesiąknięty posiew duchowej karmy. Nam tylko trzeba chleba i zabawy — woła u nas ogół. „Panem et circenses“ — nic nadto — duchowe sprawy obchodzą nas o tyle tylko, o ile możemy od czasu do czasu dostać z trzeciej ręki jakąś gazetkę lub pójść do teatru za darmo. Sztuki piękne lubimy — a jakże — ale wolimy oglądać piękne obrazy bezpłatnie, n. p. przespacerować się do Towarzystwa sztuk pięknych w 10 osób za jedną akcyą naszego sąsiada. To jest tło prawdziwe, żadną przesadą lub tendencyjnym kolorytem nie zamalowane. Jedni (a tych może najwięcej) są po prostu za ograniczeni, aby zrozumieć, że poza codzienną kawą, rozbratlem i kroniką codziennej gazety — istnieje wogóle jakaś szersza i wyższa sfera duchowa, nie rentująca się co prawda, nieproduktywna, ale przecież stanowiąca probierz uspołecznienia i kulturalnego wyrobienia społeczeństwa. Nam snać takiej sfery nie dostaje zupełnie, brak odczucia i zrozumienia potrzeby literackiego doskonalenia się i dążenia w ślad choćiażby za Czechami, gdzie nietylko ludowa, ale i piękna literatura kwitną.

Wykazy statystyczne nie wykazują tam 3 i pół miliona z okładem analfabetów, dzienniki nie opierają się na subwencyach i weksłach „łaskawych protektorów“, wydawnictwa literackie i ilustrowane nie marnieją i nie usychają z braku soków ożywczych w postaci abonentów.

Gdyby n. p. byt takiej „Złatej Prahy“ był zagrożony, jakieby tam powstały żale i rekryminacye, iluby się znalazło chętnych (nietylko sławy i reklamy żądnych) do pospieszenia z pomocą doraźną, pisma bez różnicy przekonań i odcieni uderzyłyby na alarm, ogłosiłyby nawet listę składek publicznych, nie dając upaść jedynej krajowej ilustracyi. A w naszym wystawowym kraju, co się stało gwoli podtrzymania „Świata“, a tem samem odwrócenia od kraju wstydu i ciężkiej sromoty, że nie był w stanie na własnych barkach udźwignąć „ciężaru“ polskiej ilustracyi? U nas nic absolutnie nie zrobiono, bośmy w onej chwili upadku pisma tak zajęci byli jednoczesnem klapnięciem starego gabinetu, a tworzeniem się nowego, żeśmy nad tak drobnym wypadeczkiem nie mieli po prostu czasu się zastanowić, zresztą w kronice obok wypadków policyjnych była przecież wzmianka: „„Swiat““ przestał wychodzić“. Czyż to nie wystarcza?!

Nam się takie przejście do porządku dziennego nad pismem, które walczyło dzielnie przez lat ośm z dziką apatyą i azyatycką obojętnością ogółu galicyjskiego, wydaje po prostu monstrualnem i godnem uwieńczenia wielkiemi głoskami w kronikach kraju. Długoletni właściciel i redaktor „Świata“ — Zygmunt Sarnecki — dobiega właśnie 40 lat zasłużonej pracy na niewdzięcznej niwie literacko-dziennikarskiej. Galicya, umiejąca czcić polskich pisarzy tylko bankietami i mówkami — a więc w sposób bardzo przystępny — śliczną zgotowała owacyę autorowi „Dworaków niedoli“ i „Hardych dusz“, bo w uznaniu jego 40-lecia literackiego kazała ojcu pogrzebać najukochańsze dziecię, którego wyżywienie „przechodziło“ już nadwątlone siły kraju“.

(Skargę powyższą możnaby z równą słusznością wystósować pod adresem Wielkopolski. Przyp. Red. „Przegl. Pozn.“)

* * *

Odczyt „O życiu i śmierci“. Rektor berneńskiej szkoły technicznej prof. Kronecker miał niedawno bardzo zajmujący odczyt p. t. „O życiu i śmierci“, z którego kilka ustępów przytaczamy: Powszechnie przyjętą jest zasada — mówił prelegent — że gdzie niema oddechu, gdzie serce nie bije, tam niema życia. Zasada ta jednak ulega wielkiej modyfikacyi nawet u zwierząt ssących. Dowodem te zwierzęta, które odbywają sen zimowy. Ciepłota ciała pogrążonych w śnie zimowym świstaków spada prawie do stopnia ciepłoty ciała zwierząt o zimnej krwi, to jest do 4 stopni, zwierzę oddycha bardzo rzadko, a serce jego bije zaledwie 10 razy na minutę. Zwierzę jest pozbawione zupełnie czucia; można mu głowę uciąć, a ono się nie poruszy; nawet pod wodą może żyć czas dłuższy. Takie same półżycie (vitam minimam) napotykamy także u śpiących jeży, nietoperzy, kretów i t. p., w mniejszym stopniu u niedźwiedzi. Także bardzo wiele zwierząt o zimnej krwi zapada w sen zimowy, a niektóre, w okolicach podzwrotnikowych, w sen letni. Alligator w północnej Ameryce zasypia podczas silnych mrozów, w Ameryce podzwrotnikowej zaś w lecie podczas upalnych dni. Wśród ptasząt niema żadnych, któreby zapadały w sen zimowy. Te, które zimy na północy znieść nie mogą, odlatują na południe. Rośliny wszystkie spoczywają w zimie.

Wielką jest wytrwałość nasion. Zdolność kiełkowania zatrzymują one przez długie lata, a nawet przez tysiące lat. Ziarna pszenicy, znalezione przy mumjach, posiane po tysiącu lat, zeszły i wydały plon. Niektóre mchy, które dziesiątki lat leżały w suchem miejscu, np. w zielnikach, zmoczone odzyskiwały napowrót zdolność rośnięcia. Spokój nie jest śmiercią, lecz utajonem na razie życiem.

* * *

Berliński korespondent „Kraju“ donosi:

„W kółku ekonomistów, pozostającem pod przewodnictwem najznakomitszego ekonomisty współczesnego, prof. Wagnera, wygłosiła Warszawianka, d-rka Zofia Waszyńska, wykład „O metodzie statystyki historycznej“. Rzecz traktuje jedno z najtrudniejszych zagadnień metodologicznych i została przez prelegentkę opracowaną w sposób, który obecnych profesorów do wysokich pobudził pochwał. Na ich żądanie ogłosi autorka swą pracę drukiem w jednym z najpoważniejszych organów zawodowych“.

(Specyalny nasz korespondent berliński przesyła nam notatkę, że nazwisko prelegentki podano mylnie. Jest nią: *Dr. Zofia Daszyńska.*)

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Ks. kardynała Ledóchowskiego uczczono z powodu jubileuszu kilku adresami, wystosowanemi przez red. „Dziennika Poznańskiego“, red. „Gońca Wielkopolskiego“, redakcyę „Przyjaciela“ toruńskiego, parafian ostrowskich i t. d. — W okręgu babimojsko-międzyrzeckim odbędą się wybory ściślejsze między kandydatem polskim ks. Ignacym Szymańskim z Dąbrówki a p. Dziembowskim, kandydatem konserwatystów niemieckich. Na ogólną liczbę 16,917 oddanych głosów braknie Polakowi tylko 834 do uzyskania absolutnej większości. Zwycięstwo zależy od stanowiska antisemitów i wolnomyślnych. — Pożyczka, ofiarowana Chinom przez konsorcyum rosyjsko-francuskie nie przyjdzie prawdopodobnie do skutku, bo rząd chiński nie zgadza się na zagwarantowanie pożyczki przez Rosyę. — Rektor wrocławskiego uniwersytetu zabronił studentom odbywania zebrań politycznych w sprawie założenia akademickiej filii K. H. T. Studenci, którzy pierwsze zgromadzenie odbyli w gmachu uniwersyteckim, nie poddali się rozporządzeniu temu, lecz zwołali powtórne zebranie do hotelu „König von Ungarn“. W czasie dyskusyi zjawił się na sali pedel i wezwał w imieniu rektora do natychmiastowego opuszczenia sali, a gdy z powodu rozkazu tego powstał hałas i zamieszanie, komisarz policyjny zgromadzenie rozwiązał.

* **Teatr i muzyka**. Znany publiczności poznańskiej pan Knake-Zawadzki, utalentowany artysta teatru krakowskiego, zaproszony został na szereg gościnnych występów do Łodzi. Pan Zawadzki wystąpi w kilku bohaterskich rolach wielkiego repertuaru. — Paryskie więzienie „Mazas“ wkrótce przerobione zostanie na teatr Diderota poświęcony komedyi i wodewilowi. — W Wiedniu założono teatr, przeznaczony wyłącznie dla robotników, utrzymywany przez umyślnie w tym celu utworzone stowarzyszenie. — Trupa teatralna ze Stanisławowa w Galicyi zamierza podobno udać się na gościnne występy do Ameryki. — W Ciechocinku występuje trupa Puchniewskiego, w Piotrkowie trupa Sarnowskiego. — „Pet. Wiedomosti“ piszą: „Dowiadujemy się, że jenerał-gubernator warszawski, hrabia Szuwałow, składa projekt, dowodzący konieczności założenia w Warszawie stałego teatru rosyjskiego“. — Sara Bernhardt i Duse występowały prawie równocześnie w Londynie w roli Magdy w „Gnieździe rodzinnem“ Sudermanna. Rola Magdy od kilku lat była jedną z najlepszych kreacyi znakomitej włoskiej artystki, podczas gdy Sara Bernhardt odtworzyła w Paryżu tę rolę po raz pierwszy dopiero tej zimy. Angielskie dzienniki zgadzają się obecnie jednomyślnie, iż artystka francuska odniosła zwycięztwo nad włoską. Krytyka angielska przyznaje, że Eleonora Duse jest naturalniejszą i z większem uczuciem odtwarza rolę Magdy, lecz zarazem twierdzi, że w dramacie Sudermanna chodzi więcej o siłę i patos, dla tego też oddaje palmę pierwszeństwa Sarze Bernhardt. Francuska prasa wita z radością to zwycięztwo Sary w pojedynku artystycznym, a „Journal des Débats“ zaznacza, iż Sara Bernhardt przyczyniła się ponownie do podniesienia sławy Francyi.

Zmarli:

* **Tomasz Henryk Huxley**, znakomity fizyolog i antropolog angielski, zm. 30 czerwca w Londynie.

* **Michał Dragomanow**, pisarz rosyjski, b. profesor uniwersytetu kijowskiego, zm. w Zofii w końcu czerwca.

Sprostowanie

Do fantazyi „Bosfor“, zamieszczonej w nr. 26 zakradła się wskutek nieuwagi korektora następująca omyłka: Zamiast „To Newa, ofiara iluzyi zniknęła w jego głębi“, — czytać należy: „To nowa ofiara iluzyi zniknęła w jego głębi“.

Odpowiedzi Redakcyi.

Engelke. Wierszyka nie zamieścimy, ale nie „nakazujemy autorce milczenia“. W utworze nadesłanym są ślady talentu, lubo forma, mianowicie w końcowych zwrotkach, pozostawia wiele do życzenia.

Dr. N. G. 1) Sprawa ta nadaje się do publikacyi w któremkolwiek z pism codziennych. Postaramy się o umieszczenie 2) Prosimy poinformować nas, w jaki sposób żądane egzemplarze pisma naszego przesyłać. Ze względu na niecenzuralność „Przeglądu Poznańskiego“, pod opaską ekspedyować go nie możemy, a zamknięte koperty wymagają znacznej opłaty (0,60 Mr. za numer). Jeżeli osoby, wymienione w liście pańskim, mieszkają w pobliżu granicy, wysyłać będziemy „Przegląd“ poste-restante do najbliższej pogranicznej poczty pruskiej.

Za nakład i redakcyę odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 29. Poznań, Niedziela 21. lipca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„**Przegląd Poznański**“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Związek Towarzystw Przemysłowych.

W tłumie Towarzystw polskich, rozrzuconych po całym zaborze pruskim, uczuć się daje jakieś parcie dośrodkowe, łączące w łańcuch liczne ogniwa i grupujące rozstrzelone siły i organizacyjne jednostki około wspólnego, kierującego *milieu.* Ten prąd centralizacyjny znajduje swą logiczną i psychologiczną podstawę w coraz intenzywniejszem wciskaniu się germanizmu, — jego handlu, przemysłu, rolnictwa, biurokracyi, szowinizmu i gwałtów zaborczych — do dzielnic kresowych. Stworzyła go potrzeba przeciwdziałania niemieckim klinom, rozsadzającym społeczeństwo, i nadużyciom prowincyonalnych działaczy pruskich, - spowodowało uczucie bezsilności rozsypanych warowni życia naszego, pozbawionych niejednokrotnie umiejętnego kierownictwa i narażonych wskutek tego na senną wegetacyę bez wyraźnych celów, wpływów i czynów. Tak na zewnątrz — w obronie ekonomicznych i narodowych interesów kraju naszego, przeciw zalewowi germanizmu, — jak na wewnątrz w obronie pojedyńczych organizacyi przeciw nieumiejętności, apatyi lub fałszywym dążeniom grup i kierowników, ujawniła się energicznie konieczność silnie zorganizowanej opieki nad Towarzystwami polskiemi, — opieki, któraby nietylko rozwój istniejących Towarzystw popierała, lecz wpływani swojemi i pracą rozumną nowe ogniska życia zbiorowego powołała do życia. Taka wyższa organizacya stowarzyszeń pojedyńczych nie jest bynajmniej nowem zjawiskiem społecznem, lecz tylko świeżą i poprawną edycyą owych związków miast, czeladników i cechów, o których rozwoju świadczą dzieje średniowiecznej kultury. W Niemczech w ostatnim lat dziesiątku liczba związków okręgowych stowarzyszeń przemysłowo-rzemieślniczych, — mianowicie w Badenii, Bawaryi i Wyrtembergii, — urosła z zadziwiającą szybkością, a od roku 1891 istnieje nadto powszechny, centralny „Związek niemieckich stowarzyszeń przemysłowych.“ Dla Towarzystw kupieckich zorganizowano w Czechach „Ustředni spolek českych kupcu,“ a w Niemczech „Deutscher Verband Kaufmännischer Vereine.“ Podobnych związków zawodowych, n. p. stowarzyszeń krawieckich i szewskich, znaleść można sporo w Czechach, Austryi i Niemczech, a oprócz tego nie mało przykładów wyższej organizacyi stowarzyszeń, leżących po za właściwą sferą społeczno-gospodarczą, n. p. związków towarzystw gimnastycznych i muzycznych. Wszędzie — jak świadczą urzędowe sprawozdania — centralizacya wykazać się może całym szeregiem doniosłych korzyści, — wszędzie jest ona rozsadnikiem bujnego życia i tarczą obronną dla interesów zawodowych, klasowych lub narodowych.

I u nas na obszarach zaboru pruskiego potrzeba wyższej organizacyi Towarzystw zapukała silnie do bram społeczeństwa, i oto — pomijając patronat Kółek włościańskich — powstały w ostatnich latach życia naszego związki stowarzyszeń śpiewackich i gimnastycznych (sokolich). Fakt ten jest o tyle charakterystycznym, że dwa te związki wyprzedziły centralizacyą starszych Towarzystw przemysłowych i kupieckich, które w innych krajach kroczą na czele ruchu dośrodkowego, a dla rozwoju narodowego posiadają głębszą może niż pierwsze doniosłość. Od r. 1874 począwszy i tu jednak dążenia centralizacyjne pojawiały się w najrozmaitszej formie. Już przed 21 laty wybrano generalną „Radę przemysłową“ w Gnieźnie, a w dwa lata później zapadła w Kościanie uchwała, aby utworzyć „patronat przemysłowy.“ Wybrany jednak patronem ks. Wawrzyniak niebawem złożyć musiał swój urząd na rozkaz władzy duchownej i nastąpiła długa przerwa w mozolnej pracy około wyższej organizacyi stowarzyszeń. Dopiero w r. 1887 pojawia się cenna broszurka *Franciszka Degórskiego* p. t. „Stanowisko prawne naszych Towarzystw“ i usuwając wątpliwości prawne, wytaczane przez żywioły nieprzychylne idei Związku, staje się pośrednio i może mimo woli autora na Zjeździe przemysłowców polskich w Poznaniu (1887) hasłem centralizacyi. W 5 lat później posunięto sprawę o tyle naprzód, że na kongresie przemysłowym uchwalono peryodyczne zwoływanie Zjazdów przemysłowych w dwuletnich odstępach i odbywanie Zjazdów prezesów. — Wreszcie dzięki energicznym i niezmordowanym usiłowaniom mecenasa Czypickiego z Koźmina i mecenasa Moczyńskiego z Bydgoszczy uchwalono w zasadzie na ostatnim Zjeździe przemysłowym w Poznaniu, odbytym 14 i 15 lipca r. b. założenie „Związku Towarzystw Przemysłowych w W. Ks. Poznańskiem.“

Dyskusya poniedziałkowa sprawie tej poświęcona jest nader ciekawym przyczynkiem do historyi stosunków naszych. Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że kwestya „Związku“ stanowi już od kilku lat w prasie poznańskiej temat zaciętej polemiki i że ogniskiem najtwardszej opozycyi są Towarzystwa przemysłowe Poznania, Inowrocławia, Jarocina i Ostrowa; przeciwnicy „Związku“ wystąpili na poniedziałkowem posiedzeniu w znacznej liczbie i z obfitym zasobem kontrargumentów, a walczące obozy w ostatecznem głosowaniu wykazały tylko 37 Towarzystw *za,* 21 *przeciw* Związkowi. Była nawet chwila, w której zanosiło się na burzę wielkich rozmiarów, gdy dr. Roszkowski z Lipska, rozgoryczony silną opozycyą, zaczął operować zarzutami tchórzostwa, zdrady itd. Przeciwnicy Związku wysuwali przedewszystkiem straszaka policyi i rządu, starali się uzasadnić bezcelowość wyższej organizacyi, apoteozowali ustrój dotychczasowy i wyrażali obawę, czy Towarzystwa zechcą płacić roczne składki do kasy Związkowej, — czuć jednak było w wielu przemówieniach jakąś myśl ukrytą, jakiś argument niewypowiedziany, a odgrywający w całej dyskusyi rolę dominującą. Tym utajonym fermentem była niewątpliwie rola duchowieństwa w obec Towarzystw przemysłowych. Pierwszy „Orędownik“ sprawie tej poświęcił kilka poważnych uwag, wypowiadając odważnie twierdzenie, że opozycya lęka się przedewszystkiem, aby Związek nie spotęgował i nie utrwalił hegemonii duchowieństwa w życiu Towarzystw naszych.

W obec ultraklerykalnej polityki „Kuryera Pozn.“, dążącej niedwuznacznie do opanowania wszystkich ognisk zbiorowej działalności, — w obec tendencyi organu duchowieństwa, aby ster życia publicznego oddać bez zastrzeżeń w ręce kleru, — w obec wyraźnej dążności, „aby pozbyć się zacietrzewienia narodowego i na sprawy narodowe patrzeć jedynie przez pryzmat katolicki“, — w obec bezustannych twierdzeń, że nie ma tam „błogosławieństwa bożego“, gdzie nie ma „auspicyi duchowieństwa“, — z dnia na dzień rosła obawa, że kler ująwszy w ręce cugle centralizacyi przemysłowej, zatamuje dotychczasowy samodzielny rozwój Towarzystw i na fałszywe sprowadzi je drogi. Z drugiej strony jednak — rzecz dziwna! — zwolennikom Związku przyświecała wręcz przeciwna nadzieja. Najpoważniejsi obywatele wypowiadali w prywatnych kółkach przekonanie, że „Związek“ położy skuteczną tamę rosnącym wpływom duchowieństwa w Towarzystwach przemysłowych, a w przekonaniu tem utwierdzał ich fakt, że właśnie najwybitniejsi reprezentanci dążeń hegemonicznych kleru okazywali niedwuznacznie wyraźną niechęć dla „Związku“. Tu i tam zatem jednym z najpoważniejszych motywów agitacyjnych stała się obawa przed hegemonją duchowieństwa, — różnica polegała tylko na tem, że pierwsi upatrywali w „Związku“ ułatwienie tej hegemonii, drudzy natomiast środek zaradczy przeciw klerykalnym zakusom. Ciekawym przyczynkiem do ilustracyi utajonych sprężyn stały się końcowe sceny gorącej kampanii poniedziałkowej: Otóż przy wyborze zarządu zauważył ks. patron Wawrzyniak, że proponowana lista jest w ogóle

niemożliwą do przyjęcia, bo nie ma na niej ani jednego księdza. Wtedy to ozwały się propozycye, aby do zarządu powołać ks. Wawrzyniaka i ks. Stychla, lecz kandydatury te skłoniły natychmiast kilku zwolenników „Związku“ do postawienia wniosku, aby wybór zarządu odroczyć i dalsze losy organizacyi powierzyć Wydziałowi. Epilogiem charakterystycznej sceny stało się pożegnalne przemówienie ks. Wawrzyniaka, które według referatu „Dziennika Pozn.“ zawiera następujące myśli:

„Niech was to, Panowie Przemysłowcy — mówił ksiądz Patron — nie dziwi lub nie razi, że na tym zawodowym Zjeździe waszym nie tylko powitał was kapłan, ale i żegna was kapłan. Co do mnie, to cieszę się szczerze, że nadarzyła się sposobność wyświecenia naszego stosunku do prac publicznych społeczeństwa naszego. Bądźcie przekonani, że i my, kapłani, niczego więcej nie pragniemy, jak tego, aby pomoc nasza jak najrychlej w tej pracy społeczeństwa, a zwłaszcza warstwom społecznym (?) stała się zbyteczną, abyśmy znów wszelkie siły nasze poświęcić mogli ołtarzowi i służbie Bożej. Dziś atoli, gdy staczacie bój zacięty nie tylko o byt narodowy, ale i o byt materyalny, gdy siły wasze są jeszcze słabe i rozbite, dziś nie wolno nam usuwać się od obowiązków publicznych, dziś jak w owych czasach odbudowania Jerozolimy, stać musimy wraz z wami, z mieczem w jednej a z kielnią w drugiej dłoni...

...To też dopóki ta walka trwać będzie, dopóki panowie z pośród siebie nie wydacie *zdolnych ludzi, światłych przywódzców w dostatecznej liczbie, dopóki sami obronić się nie zdołacie*, duchowieństwo zawsze wam pomagać będzie, ale usunie się chętnie do prac właściwych stanu swego, gdy już pomocy naszej potrzebować nie będziecie. Oto cała tajemnica stosunku naszego do pracy waszej.“

Cel tego zręcznego przemówienia jest jasnym. Podziałać ono miało, jak oliwa na wzburzone fale, i utorować duchowieństwu drogę do Zarządu.

Jakiemi będą dalsze losy Związku, tego dziś jeszcze przesądzać nie śmiemy. Zdaje nam się jednak, że skrupuły przeciwników organizacyi wtedy tylko miałyby racyę bytu, gdyby Towarzystwa przemysłowe nie posiadały dość odwagi oprzeć się hegemonii kleru. Nie są to argumenty przeciw idei centralizacyi, ile raczej przeciw sklerykalizowaniu Związku, które uważamy za *możliwość*, nie poczytujemy jednak za *konieczność*.

Nie odsuwając duchowieństwa od udziału w pracach obywatelskich, pragniemy gorąco, aby Towarzystwa nasze zatrzymały swój dotychczasowy charakter świecki i rządy swoje jedynie takim powierzały kierownikom, którzy wolni są od wpływów obecnej polityki kościelnej; niezależni bezpośrednio od władzy duchownej i upatrujący w idei narodowej nie drugorzędny, lecz pierwszy cel wszelkich działań zbiorowych. Wyjaśniliśmy kilkakrotnie konieczność takiego rozdziału nie w imię liberalnych uprzedzeń do kleru naszego, lecz w imię narodowego dobra, które strzedz nam trzeba czujnie z uwzględnieniem rozlicznych ewentualności politycznych. Idea ta zdobywa sobie coraz liczniejszych zwolenników, a duch przenikający dyskusye poniedziałkowe, jest wymownem świadectwem, że większość przemysłowców naszych posiada dość siły i odwagi, aby nową warownią życia polskiego ustrzedz przed zwycięztwem Kuryerowych zakusów i dążeń. Być może, że koło organizacyi związkowej wrzeć będzie walka zacięta, — być może, że świeckość Związku stanie się przedmiotem intryg i napaści, ale wierzymy silnie, że w chwili obecnej, gdy stronnictwo Kuryerowe wystąpiło *bez maski*, gdy rzucono głośne hasła zdegradowania narodowości na korzyść Kościoła, gdy świeckim rządom odmówiono błogosławieństwa bożego, — opozycya wzrosła, krótkowidze przejrzeli i sprawa nasza zyskała tysiące nowych i świadomych obowiązków swoich szermierzy.



POLITYKA.

Obrachunki polityczne.

(I. Rosya wobec Polski).

Pod powyższym tytułem wydał jeden z publicystów warszawskich broszurkę, w której zastanawia się nad położeniem Polaków pod wszystkiemi zaborami, a szczególniej pod zaborem rosyjskim. Książka ta wyszła w Krakowie nakładem Anczyca i Sp. W krótkości streścimy jej zawartość. Autor zaznacza, iż car nie spełnił pokładanych w nim nadziei, dalej słusznie zwraca uwagę, iż sfery rządzące nie są wcale ciekawe tego, co my możemy czuć lub czego chcieć. Trafnie też określa motywa, jakiemi się powodują urzędnicy państwowi — pierwszy u nich interes osobisty, później zaś dopiero idzie państwo, ztąd owa chęć utrzymania stanu naprężonego. Po takim wstępie autor zastanawia się nad fałszywym systemem stosowanym do nas i takie stawia twierdzenia:

Rosyanom nie chodzi bynajmniej o zjednoczenie państwowe Polski z Rosyą, ale o *ujednostajnienie* i to nietylko *ujednostajnienie* polityczne, ale *społeczne, religijne*, a nawet, że tak powiemy, *naturalne*. Język polski uważają za taki wrogi, że usiłują go wyprzeć ze wszystkich zakątków życia, ścigając go wszędzie. Urzędnikowi nie wolno przemówić po polsku, jeżeli nie chce na razić się na dymisyą, — dzieci polskie uczą się języka polskiego po rosyjsku, a z tego wszystkiego widocznem jest, że pragną nas przetworzyć na Wielkorosyan. Prawosławie szerzą i duchowni i urzędnicy w okolicach najrdzenniej polskich i katolickich, dążąc na tej drodze do zupełnego wynarodowienia. W długim ciągu dziejów nie zna historya jednak ani *jednego faktu*, aby naród, mający przeszłość dziejową, kulturę i świadomość własnej odrębności, dał się wynarodowić. Przytoczyć można wiele dowodów, że nie ma potęgi, któraby zdołała złamać oporność narodu, nie ma środka ani w fizyce ani w chemii politycznej, który byłby w stanie przekształcić społeczeństwo wbrew historyi, tradycyom i warunkom przyrodzonym.

Turcy nie przebierali w środkach do ujednostajnienia ludów pokonanych, prawo tworzyła samowola muzułmańska, zdołano nawet mahometanizm narzucić części ludności, a jednak po długich wiekach Bułgarya okazała się Bułgaryą, Serbia — Serbią, Grecya — Grecyą. Zdawało się, że po Białogórze Czesi tak są pognębieni, iż muszą zginąć w morzu zalewającej niemczyzny. Biblioteki czeskie oddano na pastwę płomieniom, elementarz czeski był zbrodnią, narodowość czeska poniżona i wyśmiana. I cóż Niemcom przyniosły te kosztowne wysiłki? Nic, prócz zawodu.

Jeszcze więcej pouczająca jest historya wynaradawiania Irlandyi. Ogień, miecz, ruina, konfiskata, demoralizacya — wszystko było stosowane z surowością bezprzykładną. Ogładzano ją, ogłupiano, wydarto język większej części narodu, i cóż Anglia osiągnęła? Nic, krom wstydu za swe postępki.

To samo dzieje się z Polakami: przez lat czterysta opierał się lud szląski powodzi niemieckiej, nie dzięki świadomemu poczuciu narodowej odrębności, ale żywiołową siłą bezwładności, jak Bułgarzy, Czesi, Irlandczycy. Zapuszczała niemczyzna zagony w ziemie wielkopolskie i pruskie, licząc na wyjątkowo przyjazne warunki naturalne, więcej im sprzyjające aniżeli Anglikom w Irlandyi, Niemcom w Czechach. Tymczasem czy germanizacya jest chociażby w jednym powiecie faktem dokonanym? Profesor uniwersytetu berlińskiego Böckh na podstawie danych urzędowych obliczył, że żywioł niemiecki w ciągu lat 29 (1861—1890) stał się w Prusach Zachodnich i Poznańskiem

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

W tem miejscu Bergström umyślnie przerwał czytanie, chcąc widzieć, jakie wrażenie na nich wywiera; zauważył, że Engelke schyliła się ku niemu, twarz swą rozpaloną tak silnie przycisnęła do jego głowy, że uczuł ból prawie, a przytem słyszał silne i przyspieszone bicie jej serca. Jak ją to zajmowało!

Uścisnął jej rękę.

— Tak, zaraz będzie najważniejsze — rzekł — tylko proszę nie zaglądać! — i czytał dalej:

— Nasze przypuszczenia co do pastora tutejszego sprawdziły się: jest nim rzeczywiście Sören Hausen, nasz przyjaciel dawniejszy. Jest on obecnie zagorzałym misyonarzem, w najgorszym gatunku.

— Muszę tu uczynić uwagę — przerwał Bergström — że osądza on Sörena za jednostronnie, ze stanowiska prawdziwego snoba, jakim jest w głębi duszy.

Poczem czytał dalej:

— W okręgu tutejszym panuje on, w dosłownem znaczeniu tego słowa, nad kilkuset owieczkami, które we wszystkiem mu są posłuszne; dzięki swej bezwzględności, będącej jedyną jego siłą, potrafił dojść do takiej nad niemi władzy bez granic. Jak wiadomo, trzymali się dotychczas księża od wszelkiej akcyi politycznej z daleka, — lecz teraz nastąpiła w tym względzie wielka zmiana, a może tylko wyjątkowo w tej okolicy. Zauważono, że pastor tutejszy wielce interesował się wyborami; widziano jego przewielebność na wszystkich zgromadzeniach przedwyborczych, gdzie nawet kilka interpelacyi sobie pozwolił. Najciekawszej interpelacyi oczekiwano w dniu wyborów, lecz dnia tego już nie przybył, a to z następującego powodu:

Na dwa, najdalej trzy dni przed wyborami zjawił się u Nörgaarda pastor Sören Hausen, w chwili, gdy tenże zatopiony był w pracy o szerzącej się demoralizacyi, którą to pracę przygotowywał już do następnego przemówienia. Towarzyszyło mu kilku „świętych“ z jego grona, których szaty, dziwnego kroju, musiały chyba z nieba pochodzić i tam przez podrzędnego jakiegoś krawca być zrobione, — na ziemi nie znalazłby się taki, nawet w Söllerup. Z uprzejmą miną prosi czarny ów kapłan przyjaciela naszego Nörgaarda, by zechciał im raz jeszcze program swój wyłuszczyć, znaleźli bowiem w nim punkta nie dość dla nich jasne. — chcieliby zatem z jego ust wytłomaczenie usłyszeć. Nörgaard chętnie przystaje, i pokrótce powtarza to, co w programie swoim był umieścił. Sören słucha go z poważną miną człowieka dyplomatycznie przystępującego do rzeczy. Spojrzenie jego badawczo przesunęło się po twarzy Nörgaarda, błysnęło — na ustach przewinął się uśmiech, który znikł natychmiast. Gdy Nörgaard skończył, wyjął on, niby w odpowiedzi na te słowa, list jakiś, powoli go rozwinął i głośno odczytywać począł. Słów listu dokładnie nie pamiętam, lecz jego treścią fatalną było mniej więcej to, że bohater nasz, ten mąż cnotliwy, pewną młodą, niewinną dziewczynę uwiódł, a następnie opuścił. Po przeczytaniu listu, złożył go Sören napowrót, przyczem bacznie obserwował grzesznika, a jego czarni towarzysze czynili to samo; zapanowało złowrogie milczenie....

Tu znowu przerwał Bergström.

— No cóż? — spytał tryumfująco doktora.

— Nemezys, nemezys! — wykrzyknął Pauli.

Ale cóż dalej?

Sytuacya stała się w najwyższym stopniu niemiłą, lecz Nörgaard mógłby ją był uratować jeszcze, gdyby nie wielkie głupstwo, które teraz popełnił: chciał on list z rąk pastora wyrwać, a tem ściągnął na siebie podejrzenie jeszcze

słabszym o trzy i pół proc., w rejencyi bydgoskiej przeszło 4 i pół proc., w Poznańskiem z górą o 7 proc.! Dreszcz świadomości narodowej przebiega wśród Mazurów pruskich, których praojcowie nigdy do Rzeczypospolitej nie należeli, Warmia znać daje, że przeszłość pamięta i staje do szeregu.

Jaką naukę z tych faktów wyciągają Niemcy? Przekonywują się o bezużyteczności swych usiłowań, wiedząc zarazem, że krzywdząc jednych, nie dają nic drugim i że siłę dwu narodów zużywają na pracę w bezplonnych zapasach. Za jakie lat kilkadziesiąt ich właśni historycy napiętnują to niesprawiedliwe postępowanie, jak Anglicy uważają za hańbę swego narodu barbarzyńskie obchodzenie się swych przodków względem Irlandyi. Sami przyjdą do przekonania, że krzywda upadla krzywdzącego, że naród, który zdeprawować pragnie naród inny, zaszczepia jad depărawacyi we własny organizm.

Uprzytomniwszy sobie to wszystko, postawmy teraz pytanie, czy przetworzenie Polski na Wielkorosyę może mieć jakiekolwiek szanse urzeczywistnienia?

Warunków sprzyjających jak na półwyspie Bałkańskim, w Czechach, w Irlandyi, w Poznańskiem, nawet w Galicyi tu nie ma. O kolonizacyi mowy być nie może.

Urzędnicy rosyjscy wiedzą, że należy względem Polaków postępować surowo, bo to stanowi zadanie na każdym urzędzie, bo to zapewnia fawory zwierzchników i daje przywileje. Postępują też ściśle podług tego programu.

Sprawa polska traktowana przez Rosyę w ten sposób jest nie do rozwiązania. Na tej drodze można ją zabagnić, skomplikować, ale nigdy rozwiązać. Naród w najcięższych warunkach przetrwa życie pojedyńczych ludzi, przetrwa system każdy. Praktyka rządu, która drażni ciągle jednę dziesiątą część państwa, część, która pod względem kultury zajmuje nieposlednie miejsce i chce zostać tem, czem była przez wieki, robi ją wrogiem państwa, nie wznosi budowy trwałej, nie tworzy dzieła pożytecznego. Sprawa polska jest nietylko wewnętrzną kwestyą państwa rosyjskiego, ale jest międzynarodową ze względu na zwarte masy Polaków w Austryi i Prusach.

Polityka wynarodowiania, oparta na upośledzeniu wielu milionów ludności, musi być polityką samowoli. Sposoby zaś osiągnięcia tego celu zależą od rodzaju uzdolnienia i zapatrywań wykonawców, ci więc muszą mieć swobodę działania; wszelkie stałe prawa krępowałyby i utrudniały dopięcie zamiarów. Tak też rządzą w królestwie. Często nawet ukaz carski, jeżeli nie jest zbyt dogodnym, nie bywa uszanowany. W Rosyi ani dopominać się o sprawiedliwość, ani dochodzić bezprawia nie można. Przeciw złej woli, głupocie i obłędom fanatyzmu nie ma żadnego hamulca. Ludność jest zdemoralizowana przez samych przedstawicieli rządu, wdrażana do przeświadczenia, że przestrzeganie prawa nie stanowi wcale obowiązku, że nawet praw we właściwem znaczeniu tego wyrazu nie ma. Stosunki te wytwarzają autonomią, ale autonomią biurokracyi, autonomią całej machiny urzędniczej i pojedyńczych jej kółek.

Otóż system ten niewątpliwie zły, usuwający wszelkie prawne regulatory z życia państwowego oddziaływa pośrednio na stan rzeczy w samej Rosyi.

Rosya rządzi się prawami gwałtu, do takich należy narzucanie ludności obcego języka nawet w życiu prywatnem, narzucanie religii, pozbawianie wskutek jakiejś kombinacyi politycznej wszelkich praw, wymagając równocześnie ponoszenia wszelkich obowiązków i ciężarów państwowych.

Rządy takie nietylko uciskają Polaków, ale przechodząc niejako w krew urzędników, dotkliwie dają się we znaki nawet Rosyanom. Urzędnicy bowiem, przywykli do samorządu, stosują rozkazy swoje do wszystkich poddanych. Dziś w Rosyi liczne głosy dopominają się wprowadzenia do zasad państwa *„zakonnosti"*, czyli stosunków wyłącznie na przepisach prawa opartych. Bez tego żaden postęp, żadne prawidłowe uregulowanie życia nie jest możliwe.

(Dokończenie nastąpi.)

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Bytomski „Katolik" donosi w nr. 83:

„Bank ludowy został założony w Bytomiu i od 1-go lipca zaczął działać. Dziś, gdy wszystkie sprawy bankowe już zupełnie są uregulowane, zwracamy uwagę na niego tak tym, którzy pieniędzy potrzebują, jak i tym, którzy sobie pieniądze oszczędzili i radziby je na procent oddali. Bank bowiem ma na celu udzielać pożyczek i przyjmować oszczędności, począwszy już od 1 marki. Bardzo to ważne zadanie i dałby Bóg, aby bank ludowy dobrze i pożytecznie je spełnił...

Z polityką bank ludowy nie ma oczywiście styczności i dla tego bylibyśmy woleli, gdyby w „Gazecie Opolskiej" z uciechy nad założeniem banku nie byli tak potrząsali pięścią przeciwko związkowi antypolskiemu. Pisali zgoła, że bank ludowy to odpowiedź na założenie związku antypolskiego. Tak nie jest, bank został założony właściwie 17 marca b. r., zatem zupełnie niezależnie od tej sprawy, nie wdaje się w politykę, nie chce się brać za bary z antypolskim związkiem, tylko pragnie na mocy prawa uczciwie działać dla dobra swoich. Trzeba nam unikać przesady; w polityce ona niedobra, a w sprawach pieniężnych zgubna".

„Gazeta Grudziądzka" pisze w nr. 83:

„Niemiecki kapitał a polskość".

„Pod tym tytułem wydał w Berlinie jakiś dr. Gruhn (urodzony w Poznańskiem) książkę pełną rad, aby Polaków zgermanizować co prędzej. Rady takie ukazują się teraz ciągle w druku, ta ostatnia jednak odznacza się więcej od poprzednich zaciekłością i polakożerczością à la Bismarck. Autor żąda, ażeby podjąć na nowo bismarckowską politykę i to o ile możności „w ostrzejszej jeszcze formie". Występuje też ostro przeciwko prof. Delbrückowi, który potępił brutalny i gwałtowny sposób germanizowania Polaków, a zapewnia, że rząd pruski nie może popierać „wskrzeszenia Polski". — Przeciwnie, rząd powinien wprost pracować przeciw możności zmartwychwstania Królestwa Polskiego. W tym celu powinien rząd sobie postępować w polskich ziemiach bez wszelkiej względności, aby je tylko zgermanizować. Środków i sposobów ma bowiem rząd dosyć na zawołanie. Ma pod sobą szkoły ludowe, w których może wychowywać po niemiecku młodzież robotniczą i chłopską. Ma fundusz 100 milionowy, a jeśli potrzeba, to i 200 milionowy, aby wykupić (choćby i najdrożej) większe posiadłości polskie; ma nakoniec wpływ na wybór Arcybiskupa, który powinien koniecznie być Niemcem! Pod opieką rządu powinien „Związek" ku popieraniu niemczyzny zwalczać polski stan średni. Obowiązkiem jest każdego niemieckiego kapitalisty wspierać dążności tego związku". Tak mówi Gruhn.

Kapitały do kapitałów, do tego setki milionów rządowych, aby wyniszczyć polskich rolników, polski stan średni, a dzieci polskie wychować na Niemców, przeniewierców! Niemiecki pieniądz na wytracenie naszego narodu!

A my, czy do obrony żadnych nie posiadamy kapitałów?

Pieniędzy mamy mało. (a najbogatsi najmniej czynić chcą dla sprawy narodowej) ale mamy olbrzymi moralny kapitał: wiarę, co góry przenosi, miłość, co siły daje do wszelkich poświęceń, świadomość tego, co nam grozi zatratą i poczucie obowiązków względem tych, nad którymi mamy opiekę, a którzy stanowią przyszłość! To kapitał większy nawet od milionów, bo nie można przecież wszystkiego kupić za pieniądze....."

Na hyperklerykalny artykuł „Kuryera Poznańskiego", poruszony w feljetonie („Na wyłomie") ubiegłego tygodnia, taką daje odprawę „Goniec Wielkopolski" w numerze 159:

„Trzeba być ślepym, aby nie widzieć różnicy między zadaniem pism katolickich polskich, a takichże pism niemieckich. Naszej prasie nie wolno jest być „przedewszystkiem katolicką i szczerze polską" jak tego chce „Kuryer", nasze pisma muszą, oparte na gruncie katolickim, być „przedewszystkiem polskie", bo ta polszczyzna jest zagrożoną, i więcej dzisiaj zagrożoną, aniżeli wiara katolicka.

Dlatego „w ślad dzielnej prasy niemieckiej" nie myślimy wstępować bynajmniej, jak również nie myślimy oceniać „wszystkiego z trzeźwego, jedynie właściwego punktu widzenia interesów katolickich".

Niechaj „Kuryer Poznański" walczy „o powagę" u przeciwników, podczas gdy naród ulegać będzie pod naciskiem germanizmu, rusyfikacyi i dynastycznych prądów austryackich; Bogu dzięki nie znajdzie się wielu zwolenników między polską prasą katolicką.

Strzeżmy się germanizacyi przez Kościół!"

---

większe. Tak więc przegrał bitwę, zanim ją jeszcze rozpoczął! Nie zdziwi cię zapewne, że usiłował tu użyć wszelkich środków na swą obronę: od cichej skargi niewinnie prześladowanego począwszy, a skończywszy na gromach oburzenia, gniewie i przekleństwach. Lecz jak się okazało — bezskutecznie. Pastor nie łatwo się wzruszał. Na pozór jednak rozeszły się obie strony w zupełnej zgodzie. Jakże więc było strasznem rozczarowanie Nörgaarda, jak szalonym gniew jego, na wieść o klęsce, zamiast oczekiwanego zwycięztwa! A wiedział teraz komu to ma do zawdzięczenia: nikomu innemu, jak Jego Przewielebności Panu Pastorowi. Hausen bowiem, zaniepokojony w sumieniu po otrzymaniu owego listu, oddał głos swój — a za nim poszli i inni wyborcy — na rzecz owego umiarkowanego kandydata, właściciela ziemskiego — a tem samem zapewnił mu przewagę nad Nörgaardem....

Jak tu nie śmiać się z tego? Im więcej zastanawiam się nad tem wszystkiem, tem większą czuję wdzięczność dla Opatrzności, za mądre Jej urządzenia na świecie. Dzięki Jej, uczucia nasze tak łatwo zrównoważyć się dadzą: oburzenie i gniew na widok niegodziwości i prostactwa ostudza szybko uczucie politowania na widok większej jeszcze głupoty ludzkiej!

— Otóż i skończyłem moje relacye. Pozostaje mi jeszcze do nadmienienia, że Nörgaard pełen żalu zaraz na drugi dzień opuścił miasteczko, a teraz wywiera zapewne złość swą na autora listu, jeśli go znalazł, lub autorce, zdaje się bowiem, że go kobieta pisała. A teraz, jeśliś ciekaw, jak ja na sprawę tę się zapatruję...

— Jego prywatny sąd mniej nas interesuje, — przerwał Bergström, składając list — gdyż ten...

— Nie, dlaczegoż? przeczytaj nam i to, może to ważne.

— Nic szczególnego! pisze, że trudno mu uwierzyć w jakieś Nörgaarda „miłosne przygody", jak on to nazywa, nie sądzi on, ażeby człowiek ten mógł się komu podobać. A jednak tak było, mimo jego głębokich uwag psychologicznych. Ale cóż ty na to wszystko, ojcze?

Mały doktór przebiegał teraz szybkiemi krokami pokój, paląc cygaro.

— Jakie to komiczne wszystko — rzekł wesoło — naprawdę komiczne bardzo! Lecz nie rozumiem, dla czego ty taką sympatyę żywisz dla twego pastora, — ja podzielam zdanie twego przyjaciela o nim. Ale może dla tego, że też jestem powierzchowny w mych sądach? — dodał z uśmiechem.

— Nie znasz go — odrzekł Bergström, przechylając się nagłym ruchem w tył — jestem przekonany, że jesteście w błędzie, osądzając go tak surowo. Jeśli zamiast zupełnie biernego zachowania się oddał głos swój owemu kandydatowi, to uczynił to, zapewniam was, nie dla tego, jakoby chciał biednemu Nörgaardowi szkodzić, nie... a jedynie z tego względu, że inaczej postąpić nie mógł. Musi on znaleść ujście jakieś dla niegasnącego zapału swego; obecnie cały przejęty jest agitacyą polityczną, dusza jego wiecznie wzburzona, wiecznie odbiera wrażenia, przerabia je, porządkuje... myśli bez przestanku i czuje gorąco — a jak pełna ekcentryczności... A zresztą — dodał, ujmując znowu rękę Engelki — tego, że z listu taki zrobił użytek, nie bierzesz mu za złe?

— Nie, dalibóg. Zupełnie mi nie żal Nörgaarda; zasłużył sobie na to, co go spotkało. Ale kto ten list mógł napisać? Przyjaciel twój nic o tem nie wspomina?

— Nie, a ja też nie mam o tem pojęcia. Lecz myśl napisania tego listu jest przecież znakomitą?

— Tak, znakomita myśl... to była myśl pierwszorzędnego znaczenia, że tak powiem. Myśl wysoce moralnej doniosłości... jednem słowem świetna... Ale, o ile się nie mylę, wspomina twój przyjaciel o tem, że zdaniem jego nie jest jeszcze stwierdzonym ten stosunek Nörgaarda, że może to tylko pogłoska. Nieprawdaż?

— Tak, ale to jego osobiste przypuszczenie, nic nie mające do rzeczy; niema najmniejszej wątpliwości co do tego faktu.

— A gdyby nawet tak było — odparł

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Radikalni Listy“ piszą z powodu reformy wyborczej w Austryi:

„Cała impotencya i brutalność systemu wyborczego, projektowanego przez były rząd koalicyjny, okazuje się w tem zestawieniu, że 1 milion 800 tysięcy ludzi, wypełniających obowiązki przez państwo nałożone, liczących ponad 24 lat, prawa wyborczego posiadać nie będzie.

„W roku 1891 miało w Czechach 45 właścicieli dóbr większych 5 posłów, 5357 właścicieli gruntów 500-morgowych 80, 583 członków izb handlowych 21, natomiast 338, 000 wyborców miejskich 118, półtora miliona wyborców wiejskich 129 posłów.

Według reformy projektowanej miałoby 1.300.000 płacących mniejsze podatki 34 posłów, a 700 tysięcy robotników 13 posłów. W takiem ustanowieniu przypada jeden poseł na 63 wielkich właścicieli, 2592 mieszczan, 10.918 włościan, 40 tysięcy płacących mniejsze podatki a 55 tysięcy robotników.

Wszyscy robotnicy w Austryi posiadaliby 10 posłów mniej aniżeli wielcy właściciele w Czechach samych. Ponieważ jest rzeczą niewykonalną, ażeby 700 tysięcy robotników brało udział w wyborze 13 posłów uzupełnia się jednę niesprawiedliwość drugą, zaprowadza się pośrednie wybory i gwałci autonomią krajów poszczególnych. Galicya z Bukowiną mają wybierać jednego posła, dalej jeden poseł z kuryi robotników przypada na Dalmacyą, Krainę, Istryą, Gorycyą i Tryest.

„Takiej reformy wyborczej inaczej nazwać nie można, jak zamachem, którego dopuszczają się klerykałowie i feudałowie na wszystkich warstwach ludowych“.

* * *

Lwowski, staroruski „Hałyczanin“ pisze o działalności żydowskiego komitetu fundacyi Hirscha:

„Kuratoryum fundacyi barona Hirscha przedstawia sprawozdanie ze swej czynności, z którego przytaczamy daty następujące:

„W ciągu ostatniego roku założyło kuratoryum trzy nowe szkoły, w Delatynie, Śniatyniu i Słotwinie, przytem w zachodniej Galicyi w Dąbrowie. Dla analfabetów, którzy wiek szkolny przekroczyli, urządzono kursa. W Śniatynie jest uczni 75, w Kołomyi 163, w Monasterzyskach 78, w Sasowie 30, Tarnowie 137 itd. W czterech szkołach fundacyjnych udziela się w klasach wyższych „slöjdu“, przygotowującego uczni do rzemiosła. Nauka ta wkrótce we wszystkich szkołach zaprowadzoną będzie.

„Dla biednej młodzieży żydowskiej potworzone zostały bursy. Inspektorami szkół są nietylko inspektorzy przez kuratoryum ustanowieni, ale również inspektorzy powiatowi i krajowi.

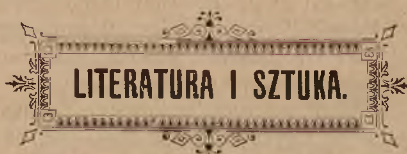
„Szkoła w Kołomyi otrzymała już prawa szkoły publicznej, a kuratoryum wyraża nadzieję, że inne szkoły wkrótce w posiadaniu tych praw znajdować się będą.

Ogólna liczba uczni do szkół uczęszczających wynosi 7000, liczba nauczycieli 92. Stypendyów udzieliło towarzystwo 72 kandydatom nauczycielskiego zawodu.

„Co się tyczy szkół zawodowych, to kuratoryum zamierza rozszerzyć szkołę ślusarską w Rzeszowie i założyć szkołę koszykarską w Mielcu. U rzemieślników umieściło towarzystwo 257 uczni, z tej liczby 59 terminatorów posłano do Wiednia.

Zaznaczyć należy, że fundacya zwraca szczególną uwagę na wschodnią część Galicyi. Z pewnością dzieje się to ze względu na Polaków, wobec których, jako panów w Galicyi żydostwo nie jest tak zuchwałe i z których kilku zasiada w kuratoryum.

D. K.



Wystawa obrazów

w teatrze polskim.

II.

Czemu uraczono nas całą seryą szkiców p. *Jana Mycielskiego*, na to istotnie odpowiedzieć nie umiem. Świadczy to korzystnie o zamiłowaniu do sztuki młodego malarza, że błądząc wśród uroków włoskiej przyrody, chwytał za pędzel i paletę, ale gdyby każdy artysta wypróżniał na wystawach turystyczne kuferki swoje i szkicowane *prima vista* drobiazgi rozwieszał na ścianach, to na dzieła poważniejsze nie stałoby miejsca. Wywiera to takie wrażenie, jak gdyby literat ogłaszał drukiem krótkie, urywane notatki, zbierane w bibliotekach lub podróżach, a służące jako materyał do jakiegoś dzieła przyszłości. A gdybyż przynajmniej te szkice zdradzały wyjątkowy talent lub niepospolitą technikę, — gdyby to były takie miniaturowe arcydzieła w negliżu, jak niektóre szkicowe zabytki włoskiego renesansu, — ale ja głębszej indywidualności i maëstryi ani w tych drobiazgach, ani w obrazie większych rozmiarów przedstawiającym „*Widok stawu w Pawłowicach*“ odkryć nie umiałem. Artyzm p. *Mycielskiego* jest przedewszystkiem w wysokim stopniu surowy. Woda na obrazie jego jest twarda, zieleń sitowia mazana, rysunek zdradza miejscami rękę niewprawną, a lubo nie można odmówić krajobrazowi pewnego nastroju, świadczącego o artystycznem czuciu autora, to przecież młody ten talent nie na wystawę lecz jeszcze do akademii należy.

Wręcz odmienne wrażenie wywierają dwa obrazy poznańskiej artystki p. *Maryi Kremer*, z których jeden, olejny, przedstawia lilje i róże, — drugi, akwarela, lilje w ornamentacyjnej obwódce. Już przed dwoma laty talent p. Kremer zwrócił powszechną uwagę na artystkę, powróconą miastu naszemu po dłuższych studyach w Paryżu i Londynie. Mniej zachwycały mnie głowy, ale kwiaty, zdradzające niewątpliwie wpływy Francuzów, odznaczały się takiem poczuciem barwy i linii, tak subtelnem dotknięciem pędzla, że w potopie rozmaitych róż, maków i bratków, prezentowanych na wystawach poznańskich, utwory p. Kremer stanowiły coś odrębnego, coś wznoszącego się z szablonowej produkcyi kwiatowych robótek na wyżynę prawdziwej sztuki. Z obecnych obrazów wolę akwarelę niż olejne płótno. Tu bowiem układ bukietu zdradza wprawdzie niepospolite zdolności kompozycyjne, ale soczystością kolorytu i plastyką tchną tylko róże, rozrzucone u stóp wazonu. W akwareli natomiast, — w tych liljach częścią nie rozwiniętych jeszcze, a częścią już nieco zmęczonych, dyszy wiosenna świeżość. Gra linii w zręcznych wiązaniach i skala tonów liljowych stanowią misterną całość. Obraz Maryi Kremer traci nieco na dekoracyjnem traktowaniu, ale charakter kwiatów, w rozmaitych fazach rozwoju, uchwycony jest z takiem poczuciem natury, że akwarelę tę zaliczam do najpiękniejszych okazów wystawy.

W „*Pierwszym popisie*“ Stanisława Bergmana rażą przedewszystkiem dziwaczne efekty światła, — z lewej strony blask zapalonego cygara, z prawej strony ogień na kominku, — dwie symetryczne plamy płomienne w dwóch kątach obrazu. Bergmann, w rysunku poprawny, nie odznacza się darem charakterystyki. Jego chłopiec, grający w izbie chłopskiej na skrzypcach, robi wrażenie martwej, z żurnalu wyciętej figurki. Dosyć plastyczne, ale jakby zastygłe są też dwie inne postacie przy stole, — natomiast dziewczyna, siedząca opodal kominka, tak pod względem wyrazu bladego oblicza jak układu całej postaci odznacza się prawdą i znakomitem wykończeniem. Całość, mimo zalet technicznych i efektownego tematu, nie żyje, — bezduszna i nieruchoma.

---

doktór — gdyby to wszystko okazało się najzwyklejszą plotką tylko, to i tak widać byłoby w całem tem zajściu karzącą rękę sprawiedliwości... Wyższa sprawiedliwość... Ludzie z tak grubemi na świat poglądami, ludzie, którzy, że tak powiem, patrzą na życie wzrokiem chłopa, oglądającego dzieło subtelne sztuki — tacy ludzie zasługują, ażeby ich jak psów pozabijano! To są zwierzęta szkodliwe dla społeczeństwa ludzkiego!

— Może być. Lecz tym razem nie ma wątpliwości nawet. Widzisz, że fakt ten musiał być znanym wogóle, skoro mógł ktoś list ten do pastora napisać.

Nastała dłuższa cisza. Wtedy Engelke, przechyliwszy nagłym ruchem głowę, szepnęła mu do ucha:

— Jerzy, to j a list ten napisałam!

Zerwał się z miejsca swego.

— Co mówisz, Engelko? — rzekł — patrząc na nią osłupiały.

Cóż tam takiego? — spytał doktór, podchodząc bliżej.

Bergström zawahał się.

— Nic! — odparł.

— To ja ten list pisałam — odezwała się teraz Engelke, patrząc ojcu w oczy.

Zupełna cisza zaległa przez chwilę pokój.

— Ty napisałaś list? — spytał ostro.

— Ja — odrzekła.

Obydwaj spojrzeli na siebie w milczeniu.

— Czy źle zrobiłam? — spytała, patrząc nieśmiało na Bergstöma.

Przez chwilę nie odpowiedział, potem zbliżył się do niej i usiadł obok niej na kanapie.

— Czy źle? — powtórzył, biorąc ją za rękę — nie powiedziałbym tego, lecz... lecz... obawiam się, że nie dość roztropnie...

Spojrzył przy słowach ostatnich na doktora.

— Nie, dalibóg, to było arcygłupie! — zawołał tenże.

Twarz Engelki oblał rumieniec aż po brzegi włosów jasnych, lecz Bergström uścisnął jej rękę i rzekł:

— Ojciec twój nie sądzi tak źle, wnosząc z tego, co przed chwilą o liście powiedział. Za pospiesznie trochę działałaś, to prawda. Czy zastanowiłaś się nad tem, zanim to uczyniłaś?

— Ależ sam miałeś ochotę list taki napisać! — rzekła.

— Tak, moja droga, ale to całkiem co innego. Jestem mężczyzną, przeto mniej niż ty zależnym. Stanowczo należało z nami o tem pomówić, zanim to uczyniłaś!

— Oto są skutki tej zawziętej skrytości — odezwał się teraz doktór wzburzony — to najmilszy twój grzech oddawna, pamiętam go, odkąd tylko mam zaszczyt znać cię... Skrytość ta jest niezdrowa, bo czyniąc człowieka w sobie zamkniętym, wytwarza w nim oschłość serca, i często prowadzi, jak i w tym wypadku, do postanowień przedwszesnych. Nieraz już o tem mówiliśmy, właściwie mówiłem tylko ja, bo ty nigdy słowa nie mówisz. Siedzisz zawsze w całym majestacie milczenia i ledwie słówko odpowiedzieć raczysz, gdy do ciebie mówię. Czyż rzeczywiście o tyle jesteśmy niżsi, że nie uważasz nas za godnych słuchania złotych słów twoich? Co?... powiedzże teraz choć słowo!...

Bergström wstał.

— Na to nie można tak zaraz odpowiedzieć — rzekł z uśmiechem — Engelke za to bardzo wiele myśli, a zdaje się, że nie wszystko to dla nas pochlebne. W ogóle jednak nie uważam, aby tu był powód do jakiego gniewu. Postępowanie Engelki można zrozumieć. A choć nie da się ono zupełnie usprawiedliwić, jest bądź co bądź ludzkiem, jak powiada mój przyjaciel.

— Ależ to nie zmienia zupełnie rzeczy — przerwał Pauli — tak samo jak z przyjacielem twoim, pastorem. Jego postępowanie także było dla ciebie zrozumiałem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bez wybitniejszej indywidualności, ale na ogół dobrze i śmiało malowany jest obraz *Alfonsa Borkowskiego*, przedstawiający epizod wojenny z r. 1863. Traktem przez wieś wiodącym mknie trzech konnych powstańców, a opodal z lasu wychyla się oddział konnicy rosyjskiej. Jest w postaciach zaskoczonych żołnierzy wiele brawury i życia. Pierwszy z dobytym mieczem tchnie siłą rycerską i zuchwałością junacką, drugi trochę nienaturalny w pomyśle, lecz bez zarzutu w ruchu i przegięciu strzela z galopującego konia, trzeci wreszcie przyczajony za ścianą chałupy streszcza się cały w wytężonym wzroku, naprężającym całą postać jego. O ile jednak ludzie tego obrazu odznaczają się wielką śmiałością i poprawnością rysunku, o tyle konie są bez charakteru i nie wytrzymują porównania z akwarelami *Juliusza Kossaka*, nadesłanemi na wystawę poznańską. Światło nie wszędzie jest konsekwentnie przeprowadzone a stereotypowe gęsi i drewniany bocian, wylatujący z gniazda, rażą banalnością swoją. Natomiast szary, lecz nie pozbawiony obfitej skali tonów koloryt obrazu, tworzy nieco posępną, lecz do tematu dostrojoną atmosferę. Oddanie całe jest jędrne, a dotknięcia pędzla nie zdradzają żadnego szukania i zacierania.

* * *

Na zakończenie dzisiejszej przechadzki po wystawie pozwalam sobie zboczyć na inną ulicę, gdzie w prywatnem mieszkaniu znajduje się obraz znacznych rozmiarów, ofiarowany przez p. mec. Ludwika Cichowicza kościołowi w Pszczewie. Obraz, którego autorem jest p. *Damazy Kotowski* z Krakowa, przedstawia św. Maryą Magdalenę, zatopioną w modlitwie, na tle pustynnego krajobrazu. Postać pokutnicy zaleca się oryginalnem, odskakującem od tradycyi pojęciem. Nie jest to czarująca pełnią i harmonią swych kształtów kobieta, rozmodlona u stóp Chrystusa, lecz Magdalena — ascetka, której post, włosienica i modlitwa wraz z piętnem grzechu wydarły kuszące formy Heby ponętnej. Tradycyjna Marya Magdalena to jawnogrzesznica, pogrążona w egzaltacyi religijnej, lecz otoczona całym urokiem zmysłowego piękna, — święta p. Kotowskiego to jakaś surowa, wychudła pustelnica, w której z czarów kobiecego piękna zaledwie ślady zostały. Tamta była urokiem ciała, to jest asketycznem uduchowieniem.

Obraz obliczony na wielką odległość jest pod względem technicznego wykończenia nierównym. Górna część płótna przedstawiająca dwóch aniołków spływających w szerokiej smudze światła nie odznacza się oryginalnością pomysłu i zaletami rysunku, — dolna część natomiast tak pod względem charakterystyki, jak kompozycyi i kolorytu posiada wybitne zalety. Szczegóły nie zdradzają nigdzie systemu gładzenia i miękkiego przekończania, przeciwnie gdzieniegdzie uderza nawet pewna pobieżność. Krajobraz rzucony jest szkicowo, jak gdyby artysta takiem dyskretnem traktowaniem tła pragnął uwagę widza skoncentrować na postaci klęczącej i dominującej w całem otoczeniu pustelnicy. Utwór tchnie ciepłem i dużo w nim światła, — szkoda więc, że dla szerszej publiczności poznańskiej pozostanie nieznanym.

W. R.

PODPALACZ.

Grajcie ostro muzykanci
A tanecznie, a od ucha!
Hej! dziewuchy, hej! chłopaki,
Rusz się żywo karczmo głucha!
Dalej! wódki daj mi żydzie,
Nalej pełny półkwaterek,
Mocnej daj mi jako ogień, —
Nalej czysto bez szacherek!
Hej! niedobra ta gorzałka,
Taka słaba jako woda,
Daj mocniejszej wódki, żydzie,
Bo na taką gęby szkoda.
Lej, nie pytaj, — byle żwawo,
Wszak na wódkę stać bękarta!
Wszak dziedzica synem jestem...
Cóż nieprawda?... Tfu! do czarta!...
Coście ludzie tak zamilkli?
Czy wam nową rzecz powiadam?...
Wszak wie o tem wioska cała,
Lecz ja pierwszy raz to gadam...
Cóż, czy w kpinach nie pytacie,
Gdzie mi matkę ziemia tuli,
„Gdzie twa matuś, krzywy Franek?...
„Idź i ukłoń się tatuli!...“
Tak! poszedłem dziś do niego,
On mię przyjął tam serdecznie,
Tak mię przecie ucałował,
Że pamiętać będę wiecznie!
Patrzcie! Franek posiniony,
Jako bania spuchły pyski!
Ha! mój ojciec bardzo hojny,
Bo na wódkę dał dwie dyski!...
I powiedział, że jak kiedy
Nazwę siebie jego synem,
To on zemści się okrutnie
Nad synalem swym jedynym.
Dalej! wódki nalej żydzie!...
Pijcie chłopcy, pijcie starzy, —
Cóż to? Franka się boicie?...
Jam dziś wesół, — wam się marzy!...
Pijcie zdrowie ojca mego,
Matki mojej, pańskiej dziewki, —
Zdrowie Franka też krzywego
Pijcie dziewki czarnobrewki!
Oj! bo to był dobry ojciec
I o syna dbał on zawsze,
Niech mu za to grosza wiele
Dadzą nieba najłaskawsze!...
By rozpusty zatrzeć ślady,
Matkę moją wygnał z domu,
W świat szeroki ją przegonił,
By nie niesła mu w dom sromu.
I wypędzał tak łagodnie
Dziedzic możny, ojciec tkliwy, —
Że od kija częstych razów
Franek przyszedł na świat krzywy!
A gdy matka z nędzy zmarła,
Wziął bękarcie dziecko swoje,
By mu rosło na pociechę,
By nie znało, co to znoje.
Komornica hodowała,
A los tulił chłodem, głodem,
Psy się tylko litowały
Nad mej doli czystym miodem!!...
Gdy urosłem na chłopaka,
To pastuszkiem mnie zrobiono,
Bat mi dano, czapkę starą
I koszulę posmoloną.
Pasłem gęsi, potem źrebce,
Potem byłem rok przy dworze,
Lecz mnie ztamtąd przegoniono
Za niemrawość moją może!
Dzieci ze mnie wykpiwały,
Ludzie starzy przezywali
Mię bękartem, pańskim synem...
I tak życie szło mi dalej. —
A po latach, gdy na chłopa
Urósł Franek krzywy, głuchy,
To wnet wioska urząd dała
Gromadzkiego mu pastuchy.
Gdym się dostał na pastucha,
To mi jakoś poszło lepiej,
Bom był dalej od was ludzie,
Ludzie srodzy, ludzie ślepi!
Sam ze stadem na pastwisku
Franek ludzi nie kłuł w oczy....
Tak, samotnym być mi lepiej,
Chociaż smutek głębiej mroczy.
Lecz i tu mnie znów niedola
Z swego łona nie puszczała,
Oj ty dolo! — dolo czarna,
Czemuś taka groźna cała?!...
Była w dworze dziewka jedna
Kaśką zwana, — wszak ją znacie?...
Odumarli ją rodzice,
Pozostała sama w chacie.
Więc na dziewkę się zgodziła
Tam do dworu, do pańskiego —
Ładna dziewka, zgrabna była, —
Lecz cóż ludzie wam dziś z tego!...
Jam się do niej tak przywiązał,
Jak pies wierny do człowieka,
Tak ją lubił, tak miłował,
Jak miłować mógł kaleka.
Ona mną wciąż pogardzała,
Śmiała się też z garbu mego,
Lecz i to mi było miłem,
Niech jej Bóg nie pomni tego!
Ja wieczorem wciąż bywało —
Popod dworskie idę ściany,
By, zobaczyć jak ma Kaśka
Pójdzie tutaj, — tu na tany.
Ona znowu, — gdy mię zoczy,
To wesoło mię zagabnie:
„Cóż ty, Franek? — wciąż miłujesz?...
„Ukłoń że mi się też zgrabnie!“
Takem zdala ją miłował
Jak nikogo już na świecie!...
I przepadła mi dziewucha...
Tak się dola strasznie plecie!...

PIOTR ROSENEGGER.

Ostatnia noc skazanego.

(Tłom. z niemieckiego **I. M.**)

— Panie dozorco! panie dozorco! Proszę przynieść mi jeszcze nóż i widelec.

— Nie wolno! — odparł wezwany, otwierając skrzypiące drzwiczki.

— To przynajmniej serwetę! — prosił więzień.

— Nie wolno.

— W takim razie proszę zabrać sobie tę pieczeń; głodny nie jestem. To miłe wino także! Gdybym je wcześniej był dostał, stałoby się może pokrzepieniem serca. Dziś strachem mnie przejmuje. Panie dozorco! proszę, poświęć mi jednę chwilkę. Jesteś pan przecie człowiekiem i nie odrzucisz mej ostatniej prośby.

— Czegoż pan sobie życzysz?

— Proszę tylko o mały zwitek szpagatu lub czegoś w tym rodzaju, to może się dobrze przydać. Proszę!

— Nie wolno.

— Posłuchaj pan. Przecież jutro i tak mnie powieszą. Zasłużyłem na śmierć, to przyznaję, ale nie zasłużyłem na tę noc, która mnie czeka. Na miłość Chrystusa, nie dręczcie mnie tą straszną nocą przedśmiertną. Tylko tę noc mi darujcie, oszczędźcie mi tej strasznej trwogi, błagam na Zbawiciela ukrzyżowanego — błagam was....

— Nie wolno! — odpowiedział dozórca i chciał odejść.

Więzień pochwycił go za ręce i szeptał z wielkim pospiechem:

Pan się wcale nie narazisz, przychodząc mi w pomoc. Nikt się o tem nie dowie. Masz pan sznurek, którym związujesz drzewo na opał, zostaw go pan, możesz przecie zgubić go w celi. O cóż mi chodzi? tylko o oszczędzenie wam roboty. Z dawna już nauczyłem się sam sobie radzić we wszystkiem więc niechże i to także zrobię sam dla siebie. Nie potrzebuję na to nikogo, tylko to....

Drzwi zatrzasnęły się i więzień sam pozostał. Ale jeszcze przez okienko krzyczał na całe gardło, a głos jego rozlegał się w ciemnym korytarzu.

— Kto wam dał takie prawo? Życie zabrać mi możecie, kodeks wam to nakazuje, a wy słuchacie ustawy. Ale trzymać mnie gwałtem przy życiu, zanim się wam spodoba zadać mi śmierć haniebną! Mówić do mnie: Musisz umrzeć jutro, a wzbraniać mi uczynić to dziś jeszcze! Zkąd to prawo macie? Jeśli na śmierć zasłużyłem, pozwólcież mi zaraz umrzeć! Ja chcę to dobrowolnie uczynić; aby nie pokrzywdzić kata, niechże mu zapłacą. Może wreszcie trupa mego na szubienicy powiesić; niech widzą wszyscy, że prawu zadość się stało. Zgoda na wszystko; pocóż jednak używać przemocy, kiedy ja to dobrowolnie chcę zrobić. Ja zabiłem, prawda, więc i mnie zabijcie zaraz. Gdzież to napisano, że ja za zabójstwo jeszcze jednę długą noc przeżyć muszę? Skazaliście mnie na śmierć, to i dobrze, ale mówię wam raz jeszcze, jakiem prawem każecie mi żyć całe tygodnie po wyroku? Jakiemże okrutnem prawem, pytam się was panowie? Czyż pierwszy atak sercowy nie może was uprzedzić i waszego wyroku unieważnić? Zabiłem, a wy jednak nie bylibyście mnie powiesili! Jeśli nie możecie zapobiedz ataku apopleksyi, czemuż przeszkadzać samobójstwu, które przecież nie unieważnia waszego wyroku, lecz go wykonywa!

Chcecie, abym umarł z ręki kata, rozumiem, — jest w tem jakaś racya. Ale gdzież on jest, do kata? Czyż nie może uczynić tego dziś równie dobrze jak jutro? Niechże nareszcie raz przyjdzie. Ten głupi strach przed nim jest okropniejszym niż on sam. Czyż on nie mógł tego już przed siedmiu tygodniami uczynić? Nieskończenie okrutni jesteście — potężni panowie! Przecież wyrok mówi po

Syn się pański rozmiłował
W czarnobrewej mej dziewczynie...
Ha! ha! niby mój braciszek!
Niech mu życie słodko płynie!
Uwiódł dziewkę mą jedyną,
Zabrał wianek jej różany,
Potem nogą jak psa trącił
Panicz drogi, wychuchany!...
Ona poszła w świat daleki
Od was ludzie kryć swe oczy,
Pogardziła i mną biednym...
Oj! łza ciężko oko mroczy!...
A jam poszedł do dziedzica
Prosić sądu na me życie,
O mych krzywdach mu powiedzieć,
Podziękować mu też skrycie!
Lecz on ludzi wnet przywołał,
Jak sobakę mnie wygnali!...
A jam pięście zacisnąwszy
Poszedł sobie w drogę dalej.
Ej! wy pany, możne pany
A gdzie wasze jest sumienie?...
Czy w was ludzka dusza siedzi,
Czy też twarde z pól kamienie?...
Gdzie wam dano takie prawo,
Że pokalać chłopską dolę
Wolno wam jak zbójcom leśnym
Na rozpustę, na swawolę?
Ej, wy pany możne pany
Pięścią grozi wam kaleka.
Oj! zaśpiewa wam oberka,
Że aż zadrży z łez powieka!
Ha! Ha! dalej, wódki żydzie!..
A zagrajcie mi od ucha!...
Dalej, dalej a wesoło
Obereczka grajcie zucha!...
Patrzcie ludzie! łuna bije...
Ponad dworem pożar błyska!...
Pali się dwór wielki, biały,
Wiatr iskrami w niebo ciska...
Jasną ja ci, ojcze drogi,
Na zabawę zatlił zorzę! —
Dalej hulaj, pij, używaj,
Masz tu dziewki strojne, hoże!...
Baw się wesół — a od ucha! —
Oj! bo Franka popamiętasz,
Ładny'm, groźny dzisiaj sprawił
Wiekowieczny ci lamentarz!...
Dalej! chłopcy! — który żwawszy
Niech pode dwór żwawo bieży,
Bo tam z główką rozwaloną
W rowie martwy panicz leży!...
Ha! ha! ha! ha! Hop! wesoło!...
Wódkę pijta za me zdrowie!...
Szumi pożar... łuną błyska...
Panicz martwy leży w rowie...

Probierczyk. 1895 r.

Bohaterowie a poeci.

Nie tak bardzo dawno, kiedy poezya nasza z bohaterskiej i proroczej, jaką była za życia wielkich poetów okresu romantycznego, — przeszła powoli, w miarę ich wygasania, — w czułostkową, wciąż załzawioną, jęczącą za każdem zerwaniem się byle struny sercowej; kiedy, pozbawiona silnych męzkich akcentów, zaczęła się roztkliwiać głównie nad tem: jak więdną kwiaty uczuć, jak serca, pozbawione miłości, pękają, a proza powszedniego życia dławi czułe istnienia takowej spragnione, — wtedy pokolenie, dbałe o to, by w ciasnych szrankach życia urządzić się bez szwanku, wydrwiło podobne żale i skargi poetów, odmawiając ich poezyi znaczenia pożytecznego w życiu ogólnem czynnika. — Wprawdzie kilku zdolniejszych przedstawicieli tej poezyi, przesiąkniętej jednostkowemi, nikłemi bólami, poprawiło jej sytuacyę (tak na przykład Sowiński, Asnyk i t. p.); wprawdzie później przybyło nam więcej poetów zdolnych, jednających sobie ogół czarownym dźwiękiem swych lutni i nutą nieosobistą (Konopnicka, Kasprowicz i t. p.) — zawsze jednak i z tych objawów odrodzonej poniekąd muzy niewiele sobie u nas robiono: nie stawiano poetów wyżej ponad resztę użytecznych społeczeństwu pracowników, a pojawiania się ich nie witano, tak jak się wita n. p. kometę. — W najlepszym razie cieszono się z ich przyjęcia, tak jak się cieszono z tego wszystkiego, co rozwojowi piśmiennictwa sprzyjało i zdobiło go poniekąd. — poeci sami w owym czasie niezbyt wiele nam o swem posłannictwie prawili i z działalności swej nie robili czegoś nadzwyczajnego. — Dopiero ostatniemi czasy, kiedy w społeczeństwie naszem przebudzać się zaczęły uczucia uśpione tak zw. „pracą organiczną“, kiedy myśl nasza, nieodrywająca się od ziemi, zaczęła sobie pozwalać na rozmaite śmielsze wzloty: fantazye, mistyczne westchnienia, sny o życiu nieziemskiem etc.... a i na dążenie do idealniejszych, chociaż bardziej namacalnych form bytu, — w poetach duma zaczęła wzrastać, a z utworów ich przeglądać świadomość, że spełniają rolę płonących pochodni, wiodących ludzi ku celom wyższym, ku stanom doskonalszym!

Nikomu tej świadomości nie chcielibyśmy odejmować; jest ona dobroczynną, sama myśl bowiem, że z działalności naszej może wyniknąć jakiś pożytek dla społeczeństwa, zdolną jest nas na drogę pożytecznego działania wyprowadzić. Działalność przeto poetów, płynąca z podobnegoż przeświadczenia, może znaleść poczesne miejsce w liczbie rozmaitych „użyteczności“. — Nie trzeba tylko zbytnio jej przeceniać, czem często grzeszą kochankowie muz, utożsamiający nierzadko wypowiedzenie pięknych słów z ich urzeczywistnieniem, widzący w śpiewie swem już nie odbicie walk za wielkie cele ludzkości, lecz najskuteczniejszą walkę za nie. Pretensyonalność poetów, nawet największych, dobrze jest znaną; są oni nadto czuli na sądy potomnych, — chętnie więc wyolbrzymiają zasługi własne, by z większą pewnością módz skroń przyozdobić niewiędnącym wawrzynem. W postawie ich jest zwykle dużo pozy, — szczytnej niekiedy i wielkiej, lecz najczęściej przesadnej; poeta nie lubi widzieć siebie w powszednich warunkach działania, — dla niego zawsze trzeba wyjątkowych położeń; jak schillerowski Posa wobec Carlosa, tak i on staje przed nami nie jak zwyczajny towarzysz zabaw,

„Lecz jako poseł od ludzkości całej;“

albo do tej „ludzkości całej“ — przemawia jak pół-bóg, jak demiurg jaki, jak prorok wieszczący przyszłość jemu tylko objawioną. — Usposobienie tego rodzaju najczęściej zdradzają poeci wtenczas, kiedy społeczeństwo szuka po omacku jakiejś nowej dla siebie drogi, kiedy pragnienia jego są nieokreślone jeszcze, będące w stanie przeczuć i stłumionych westchnień; w chwili słowem zamętu idei i pojęć, — okresie uczuć rozhukanych, wylewających się na oślep w rozmaitych kierunkach. — Poeta wówczas najlepiej dogadza ogólnemu nastrojowi — sam bowiem najczęściej gości w krainie pragnień i przeczuć, najlepiej do niej zna drogę, — najpromienniej ją sobie wyobraża i innym przedstawia. — Wydawać może się mu wówczas, że:

„W przedwiecznej bogów zasiadał on radzie,
„Był przy posiewie światów — i zagładzie;“ —

i to, że jest on bohaterem, obracającym koło fortuny ludzkości, wiodących ją do lepszych przeznaczeń, — że jest królem ducha etc. etc. Wskazywać drogę, a wieść, — być królem ducha, a królem czynu, jakże to wielka różnica! Poeta nie liczy się z tem w chwili swych natchnień podniosłych. Dzisiaj to nie tak poważnie i silnie wygląda, jak za czasów Schillerów, Byronów i Mickiewiczów, ma jednak i w naszych czasach swój zdrobniały wyraz, potwierdzający niesłabnące pretensye poetów i przecenianie własnego znaczenia. — O tem właśnie mamy zamiar pomówić. Nie możemy uganiać się za wszystkiemi tego rodzaju usposobieniami poetów doby dzisiejszej, musimy poprzestać na kilku zaledwie, nie przecząc zresztą, że są i im przeciwne.

W „Przeglądzie Tygodniowym“ z 94 roku w numerze 46 w artykule A. Langego, którego każdy bez wahania zaliczy do zdolniejszych poetów naszych, znajdujemy sąd następujący: „P o e z y a — powiada poeta — j e s t j e d n y m z n a j w a ż n i e j s z y c h r o d z a j ó w b o h a t e r s t w a, a p o e t a j e s t b o h a t e r e m etc...“ — w „Tygodniku Ilustrowanym“ zaś p. Czesław Jankowski — także poeta nie byle jaki — wita w nr. 8 tego pisma z 95 r.) „nowego poetę“ p. Kazimierza Tetmajera, z takim entuzyazmem, jakby prawdziwego bohatera — odrodziciela nietylko pieśni, lecz i czegoś

---

prostu o śmierci i król go podpisał, a egzekucya trwa najwyżej pięć minut. jeśli kat nie jest partaczem. Od siedmiu tygodni, od chwili, w której odczytaliście mi wyrok, konam nieustannie. Ale i to wam nie wystarcza, chcieliście zwiększyć mój strach śmiertelny przed ostatnią chwilą i oto dzisiaj objaśniliście mnie łaskawie, że jutro rano o szóstej wyrok wykonanym zostanie. Moja ofiara nie cierpiała ani minuty, panowie, ani minuty! A wy? Oto wy tą winą sumienie obciążacie! Całe siedm tygodni i ta noc jeszcze. Na sąd wieczny zaklinam was, niechże się to skończy!

Tak wołał, a wyraz każdy jak krzyk śmiertelny rozlegał się straszliwie po długim korytarzu, ale nie dochodził uszu tych, którzy go słyszeć mieli.

Gdy więzień odwrócił się w swej ponurej celi, ujrzał na ławie obok posłania ze słomy talerz z pieczenią i kieliszek wina. Rozśmiał się.

— Teraz mam jeść i pić! — zawołał z głuchym śmiechem. — Dogadzać podniebieniu w ostatnią noc życia. Czy to złośliwość z ich strony, czy może.... Zapewne, gdyby to można ogłuszyć się pół litrem wina! Gdyby to można! Nie, to ma mnie tylko pokrzepić, abym potem tem silniej męczarnią odczuwał. Podobno wino upaja łatwiej, jeśli je pić powoli. Ach! mieć dwie ręce, dziesięć palców, zęby — i tak być bezsilnym! Ileż dobrego ołowiu zmarnowałem na polowaniach! Ileż istot zamordowałem, co tak chętnie byłyby żyły jeszcze. I oto żadna kulka nie została dla mnie, by mój szalony strach zagłuszyć. Strach przed katem! czyż to nie śmieszne? Toć on zrobi to tylko, co ja sam zrobić pragnę. — Och! jakieś kroki! Może już idą? może to oni? Nie, to pewno ksiądz nadchodzi. Jeśli o to tylko chodzi — to mu podziękuję. Moje własne grzechy już wyznałem, teraz mógłbym się tylko z cudzych spowiadać. Brrr — dreszcz zimny mnie przechodzi, — to te cudze winy. Że żyć muszę jeszcze na to tylko, by cierpieć strach śmiertelny — to cudze winy. Dziękuję wam za tę pomoc, dziękuję. Na tę noc pragnę innego towarzystwa. Czyż to jest to inne towarzystwo. Przywoływałem na myśl moje szczęśliwe czasy, aby mnie rozerwały tej nocy. Wspomnienia przepychu, przyjaciół, kobiet, zabaw moich i tryumfów przywoływałem. Tymczasem zjawiają się inni goście. Z ponurej głębi lasów, sarny i jelenie, które padły z mej ręki, kuropatwy, bażanty, cietrzewie — otaczają mnie z osłupiałemi oczami — te przeklęte ptaki. — Cóż? Chcecie, abym wyznał spełnione na was morderstwo? Więc i waszą śmierć wyspowiadać i odpokutować muszę? Jak świat światem nigdy tego żaden nie przypuszczał myśliwy. Te straszne widziadła! beczą mi i gdaczą, że za kilka godzin na szubienicy zawisnę. Precz! precz odemnie! Co widzę jeszcze? Szkielety ludzkie! Robotnicy, chłopi, poddani, dzieci, które w moich bogatych dobrach z głodu i nędzy zmarniały? I kobiety także! Czegoż te żądają, skwitowaliśmy się przecież! Sprzedałyście mi swój zielony wianek, zapłaciłem za niego gotówką, i zaprawdę nie oszukałem was. Wydarłem go wam — mówicie? Ach, idźcie precz, kto wam go wydrze, temu go same rzucacie pod nogi — to stara historya. — Nakoniec przyjaciel! Ten z Monte Carlo — z raną na czole! Czegóż ty chcesz odemnie? Czyż mam odpowiadać za przypadek? Gdyby kości były padły inaczej, ja byłbym ofiarą. Taka zwykła jest kolej gry. Ale, Aladarze, strach bierze patrzeć na ciebie. Aladarze! odejdź w pokoju i mnie pokoju nie pozbawiaj. — Teraz — nareszcie on sam się zjawia! Hrabia Ferdynand, mój wróg i współzawodnik znienawidzony śmiertelnie. Tylko za śmierć tego stworzenia odpowiadać muszę.

Chwila, kiedy padał pod ciosem mego sztyletu — zaprawdę słodszą była niż miłość, której kosztowałem — chwila ta warta była śmierci z ręki kata!

Czegoż chcesz, hrabio, zrównaliśmy rachunki!

Jakto? Rękę mi podajesz? Ty tylko! Ty jeden przebaczasz, ty, na którym tę zbrodnię spełniłem? Ty jedyny z pomiędzy wszystkich, co mi byli przyjaciołmi! Oni mnie obsypują przekleństwami. Ty zjawiasz się jako po

więcej jeszcze. Nie odmawiając niejakiej słuszności poglądowi Langego, ani też wybitnych zdolności poetyckich p. K. Tetmajerowi (nie o to tu chodzi!) — chcielibyśmy „bohaterstwu“ poetów dać tu prawdziwą jego formę; uskutecznić powyższy zamiar będziemy mogli: 1-o przez porównanie poetów z prawdziwymi bohaterami, 2-o przez zdanie sobie sprawy z tego: jak wpływa na ludzi „bohaterska“ działalność jednych i drugich.

Pozory zbliżają ku sobie bohaterów i poetów: i tych i tamtych opromienia sława, przez liczne wieki, — jednym i drugim wznosi wdzięczna ludzkość trwałe pomniki, — uwieńczy jednakowo na Kapitolu etc. etc.... Nie daje się również zaprzeczyć, że rodzaje ich „bohaterstwa“ podobne są niekiedy do siebie, że jedni i drudzy walczą za jedno, cierpią podobne katusze myśli lub ciała, skazują siebie świadomie na jednakowe męczeństwa. Dużo mamy poetów, którzy byli także i bohaterami, n. p. Eschylos, Tyrteusz, Cervantes, Chénier (Andre), Silvio Pellico, Mieczysław Romanowski i t. d.; wielu również takich, co mieli bohaterski temperament i próbowali bohaterskiego działania, nie poprzestając na takimże śpiewie; u nas był takim poetą Mickiewicz, w Niemczech Schiller, o którym przyjaciel jego generał Scharfenstein powiedział, „że gdyby Schiller nie był wielkim poetą, to nie miałby przed sobą innej drogi, tylko musiałby zostać wielkim człowiekiem w życiu czynnem“ — i dodawał, że w takim razie zaszczytne męczeństwo byłoby jego udziałem. — Ale wszyscy tego rodzaju poeci do działalności bohaterskiej głównie z powodu swej organizacyi duchowej i byliby bohaterami pomimo geniuszu poetyckiego.

Nie w nim więc tkwi przyczyna bohaterstwa, jak on niem nie jest! Geniusz poetycki przeciwnie, — nie sprzyja bohaterstwu — jak to zobaczymy później, a nie trzeba wcale być geniuszem, by zostać bohaterem. — Wyżej pomienieni wielcy ludzie byli bohaterami i poetami zarazem, — niech nas jednak ten szczęśliwy zbieg okoliczności nie uwodzi! Jesteśmy zdania, że każdy prawie bohater jest poetą, — rzadko jednak który poeta t. j. człowiek obdarzony geniuszem poetyckim był bohaterem i posiadał potrzebne, by nim zostać, przymioty. — Być bohaterem, to znaczy: poświęcić siebie całkowicie jakiejś wielkiej sprawie, jakiejś idei, — wyrzec się tego wszystkiego, co jej ziszczeniu się nie sprzyja; istnienie swe przejściowe nagiąć do celów powszechnych, związanych z dobrem danej grupy ludzkiej, — to służyć celom tym bezinteresownie i umieć złożyć na ich ołtarzu samego siebie wtedy, gdy okoliczności tego wymagają; to przedewszystkiem — harmonizować czyny swe ze słowami i dążyć do przeobrażenia całokształtu istnienia naszego w taki sposób, by rozdźwięk, panujący między ideą a czynem nie mógł więcej ducha niepokoić. — A to wszystko jest najczystszą poezyą, jak jest nią każdy nastrój ducha naszego, co nas od filisterstwa odwodzi, co w nas wytwarza zdolność poświęcania się widokom odkrywającym nam coś więcej nad możność zadośćuczynienia osobistym interesom. Każdy rzut śmielszy w przyszłość, nie obrachowany miarą osobistej korzyści — każda działalność poświęcona istotnemu dobru człowieczeństwa, — jest poetyczną. Tu wchodzi w grę i fantazya wybujała, i rozkoszowanie się odległemi obrazami rzeczy upragnionych i przeczucie spełnionego obowiązku etc... słowem to wszystko, co na miano szczytności zasługuje. — Wszak poetą by trzeba być, by zgodzić się dobrowolnie na śmierć jak Sokrates, by faktem tym nadać większe znaczenie głoszonym zasadom? — poetą — by zostać jakim: Sakja-Munim, Chrystusem, Mahometem, Hussem, lutrem nawet, Tomaszem Münzerem i t. p.?

Znając żywot tych i podobnych postaci, wiemy nadto, iż poezya ich była czynną — dla tego też była — bohaterstwem. Jako poeci głosili oni wszyscy jakieś wzniosłe, niepowszednie zasady, jako bohaterowie urzeczywistniali je. Prócz tego zasady przez nich głoszone i wyznawane były wyrazem ich własnych usposobień, i to takich, które pozwalały im zasady te osobiście wcielać w życie — nie zaś czczym wymysłem rozkołysanej wyobraźni, rzucającej gromkie i niepojęte hasła, puste wewnątrz i nieziszczalne, chociaż olśniewające i budzące podziw. Jeżeli wypowiadali słowa szczytne, to takie tylko, których byli żywem upostaciowaniem; jak ów żołnierz grecki pod Termopilami, co na groźby Persa, obiecującego zaćmić słońce swojemi strzałami, odpowiada ze wzgardą: to dobrze, będziemy walczyć w cieniu! — pewny także, iż słowu pięknemu odpowie nie mniej piękny czyn. Dla tego to nie trzeba być częstokroć niepospolitym człowiekiem, by zostać bohaterem, jak nie trzeba przemawiać mową bogów, by zostać prawdziwym poetą.

Autorowie pierwszej wystawy konstytucyjnej związku helwetyckiego, ci prości pasterze leśnych Kantonów, nie byli ani bohaterami w pojęciu tragedyi klasycznych, ani natchnionymi wieszczami; jednakże gdy sześć set z górą lat temu przyrzekli sobie: iż będą bronić się wzajem mieniem i ramieniem, to w słowach ich prostych więcej tkwiło poetycznego bohaterstwa i bohaterskiej poezyi, niż we wszelkich tego rodzaju wykrzyknikach uznanych bohaterów i przysięgach miotanych przez najwznioślejszych poetów. — Dla czego? — dla tego, że związkowi z Grütli słów swoich, na wiatr nie rzucali, i byli przygotowani szczytność słów wypowiedzianych potwierdzić również szczytną akcyą!

Bohaterowie, wstępując na drogę działania, wiedzą z gory, że posłannictwo ich przyniesie im dużo cierni, że mogą być chwile, w których sprawa, jakiej służą, będzie wymagała zupełnego zaparcia się samych siebie, nie odstręczą to ich jednak od niej, owszem, przykuwa mocniej i jakby zlewa ich z nią w jedno. Takim był skromy doktor Luther, gdy go ostrzegali przed niebezpieczeństwem podróży do Worms było tyle dyabłów, ile dachówek na domach jego; takim był Galileusz wobec luf karabinowych, mierzących w jego piersi (choć to inny już rodzaj bohaterstwa), Winkelried szwajcarski, wszyscy wielcy męczennicy myśli, wiary, wolności etc... Wszyscy oni wyróżniają się nieprzepartą chęcią uzewnętrzniania samych siebie w działaniu odpowiedniem — nie unikają go i pragną wciąż, by co prędzej zetrzeć się z tem, czego są zaprzeczeniem. Nie namyśla się bohater nad tem, jak ma działać, — drogę ma przed sobą od dawna wytkniętą, od której nie odstępuje, gdyż innego postępowania nie rozumie; nie liczy się on nawet z tem, czy warunki, w jakich działa, wróżą ma powodzenie; nie o powodzenie mu głównie chodzi, lecz o działanie w skreślony sposób; gdyby było inaczej, inny los możeby spotkał Hussów, Vezaliuszów, Giordano Brunów i t. p. — Mieć wyobrażenie o lepszem życiu zbiorowem i nic dla niego nie robić, być pewnym prawdy i nie wyznawać jej głośno, — tego nie przeniesie żaden bohater! Jakże innym jest poeta! Zacznijmy od powołania jego. Uważa on takowe najczęściej w istocie za rodzaj „bohaterstwa“; wydaje mu się, że głosząc wielkie zasady i dając wielkie hasła, już przez to samo złożył im siebie całkowicie w ofierze, że:

„zginął cząstką w trudów arcydziele —
i „skonał zwrotką w poświęcenia hymnie. —

Ale czyż dopprawdy poeta działa w myśl wyznawanych idei? (pomijamy tu tych, którzy działali). Bardzo rzadko; on tylko wyraża działanie, on tak śpiewa najczęściej, jakby chciał działać, gdyby to... Łatwiej się dawało i mniej wymagało energii czynnej, — on najpiękniejsze sny swoje i najśmielsze marzenia najczęściej tylko w słowie urzeczywistnia, — gdyż słowa jest tak jego żywiołem, jak czyn jest żywiołem bohatera. Powołanie jego to nie zaofiarowanie siebie innym, to nie walka ze złem cudzem, to przedewszystkiem uwalnianie siebie samego z pod jarzma własnego, — gnębienie zła w sobie! Ofiara więc ta z siebie samego sprawia najpierw ulgę jeszcze pierwszemu. Jeżeli mamy poetów uważać za bohaterów, to komuż oddamy wśród nich jedno z pierszych miejsc, nie Goethe'mu! Niewątpliwie! A tymczasem ten „bohater“ poezyi twórczość poetycką uważał głównie jako czynnność dobroczynną dla samego twórcy; kazał ludziom tworzyć, wypowiadać się, uzewnętrzniać w słowie — by uśmierzać własne niepokoje duszy i leczyć bóle moralne. Wiemy n. p., że Goethe swego „Werther'a“ pisał, by wyleczyć siebie z cierpień sercowych; że artyzm doradzał za pomocą malowania swych bólów, uwalniać się od nich i obudzać w sobie silne przywiązanie do życia; gdy widział kogoś smutnym, zakłopotanym, zgnębionym moralnie, powiadał mu, przypominając siebie podczas pisania „Werthera“: „róbcie tak, jak ja, wydajcie na świat dziecię, co was niepokoi, a nie będzie wam sprawiało więcej bólu“. Gdzież więc tu miejsce na działanie z myślą o wyzwoleniu innych z pętów złego? Gdzie tu dbałość o cele całej ludzkości?

W każdym wielkim poecie coś z powyższego usposobienia nieśmiertelnego twórcy „Fausta“ możemy odnaleść; dla tego, że taką jest w większości wypadków istota geniuszu artystycznego. — Geniusz artystyczny, to przedewszystkiem — szczyt egoizmu, to potężne ześrodkowanie się indywidualności na niej samej z pragnieniem głębokiem i zazdrosnem najpełniejszego uzewnętrznienia się w wieczystych formach piękna — w słowie nie zgładzonem wiekami. Poeta, jako jedno z wcieleń geniuszu artystycznego, jest zazwyczaj oszczędnym w wydawaniu samego siebie, on wciąż skupia swe siły, by je zaprządz do głównego celu: wyrażenia najsilniejszego i najwszechstronniejszego jego własnej istoty. On w tem widzi swe powołanie i przekonanym jest, że tego człowieczeństwo całe od niego wymaga; jest zdania, że odsłaniając samego siebie, odkrywa ludzkości rzeczy wzniosłe, którychby inaczej nigdy nie oglądała, że daje jej w ten sposób prawdy, do jakich nigdyby bez tego nie doszła. Dla tego ceni tak wysoko swe siły twórcze i nie daje im się rozpraszać, pozostając wobec prawdziwych walk ludzkości o lepszą przyszłość obojętnym i pogodnym, jak ów Neptun Virgiliusza, co chociaż wzruszony do głębi, podnosi swe czoło spokojnie na powierzchni morza. Poeta wprawdzie przejmuje się bólami całego wszechstworzenia, wzrusza się niemi do głębi, ale poprzestaje najczęściej na ich odtworzeniu i zaznaczeniu — dbały także nie mniej o to, by przez to odtworzyć samego siebie i silnie podkreślić. On może perzestać na tem i widzieć w tem najsumienniejsze spełnienie swych, względem ludzkości, obowiązków. Dobrze jeszcze, gdy się przenika treścią życia nieosobistego, gdy cierpi i „czuje za miliony“, — a wszak się nieraz

---

cieszyciel w tę noc okropną. Ty, zamordowany — ugodzony tą ręką!...

Teraz już rozumiem. Za to jedno morderstwo pokutuję i ta jedna wina jest zgładzoną. U bram śmierci ofiara moja wita mnie przyjaźnie. — Nie odpokutowałem zresztą niczego. Ztąd strach i męczarnia. Sprawiedliwość wymaga, abym zniósł więcej niż śmierć, abym cierpiał stokrotnie. Stokrotnie bowiem zabijałem. Dziś to rozumiem i człowiek musi odpokutować wszystkie swoje winy! Grzeszyłem wiele, o Boże sprawiedliwy, — wiele grzeszyłem! Posłuszny Twoim rozkazom cierpieć będę w pokorze i umrę....

— Panie dozorco! panie dozorco! — zawołał wśród nocy.

— Czy pan żąda czego? — mruknął wezwany przez okienko.

— Z głębi serca błagam was o księdza.

— Przyjdzie.

— Która godzina?

— Właśnie dwunasta.

— Dzięki Bogu, mam jeszcze sześć godzin!

zdarza, że najszczerzej wyznaje, że mało go obchodzą wszelkie nędze ludzkości, jej wysiłki, dążenia do lepszego etc.... Powiada on nieraz tak jak Théophile Gautier w pięknym wierszu swoim do „Młodego Trybuna“, że „są w naturze piękne rzeczy:

„Des rossignols oisifs, de paresseuses roses,*)
„Des poëtes rêveurs et des musiciens
„Qui s'inquiètent peu d'être bons citoyens,
„Sinon que tout est bien, pourvu qu'on ait la rime“.

i dalej:

„Qui' importent à ceux — là les affaires publiques
„Et le grave souci des choses politiques?
„Que leur font vos discours, magnanimes tribuns?
„Vos discours sont très beaux, mais j'aime mieux des roses...

Nie mamy jednak potrzeby udawać się po przykłady do tego rodzaju poetów co Théophile Gautier, — do wszelkich dawniejszych i współczesnych parnasistów, symbolistów i t. p. — którzy z niewinnym, dobrodusznym uśmiechem głosili zasadę: że piękna forma, konsonans piękny i rym wyszukany więcej znaczą w poezyi, niż treść głęboka i cele poważne; do tych, co przekręcali zdanie Terencyusza: „Homo sum, nihil humani a me alienum puto“, powiadając jak najszczerzej: „człowiekiem jestem, a więc wszystko co ludzkie nic mnie nie obchodzi“. U najgłębszych i często wzrok swój zatrzymujących na niedoli ludzkiej poetów odnajdziemy podobne wyznania, czynione w chwili szczerości! Wszak nie kto inny jak Zygmunt Krasiński, ów głęboki poeta-myśliciel, wnikający w najciemniejsze zakątki otchłani nędzy ludzkiej, rozumiał poezyę jako taką, co: „Ludziom zostawi wszystkie dżdże ich i burze, a sobie weźmie błyskawice — i, z chmury na chmurę, z odmian w odmiany, ze zwalisk na zwaliska przelatując, będzie mówiła o Bogu, o potępieniu wiecznem i o wybranych, kiedy pod spodem toczyć się będą walki o budżet, o wolność lub ucisk, o kolonie lub interwencyę“. (Listy do Gaszyńskiego 46, str.).

A czyż trzeba wspominać tu o tych wszystkich niezrównanych lirykach, których więcej było wśród poetów niż bardów na podobieństwo Tyrteusza — wszystkich Byronów, Leopardich, Mussetów, Lenauów, Heine'ych etc. etc., dla których najgłówniejszą w świecie sprawą byli oni sami: ich cierpienia, ich osobiste męczarnie, o jakich niezmęczenie nam śpiewali, wykazując ich wielkość i niepospolitość.

*) Słowiki próżniacze, leniwe róże,
Poeci, marzyciele i muzycy,
Którzy nie troszczą się o to, by być dobrymi obywatelami,
Wszystko ma się dobrze dla nich, byleby się miało rym.

Cóż takim znaczą sprawy publiczne
I poważna troska o rzeczy polityczne?
Czemże są wasze mowy, wspaniałomyślni trybuni?
Są one bardzo piękne, — wolę jednak więcej róże.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Niemcy w oczach francuzkich.

(Th. de Wyzewa. Chez les Allemands. L'Art et les moeurs. Paris, 1895.)

Francuzi zaczynają się zajmować Niemcami. Od czasów pani de Staël nie było takiego zagłębiania się w duszę niemiecką, jak obecnie. Rozdrażnienie, wywołane klęską 1870 roku — powoli łagodnieje i Francuzi powracają do dawnych pojęć o Niemcach takich, jakie wygłaszał Michelet, Balzac, Renan, Taine. Niemiec — była to dla nich postać mędrca i marzyciela, pogrążonego w ideach ogólnych, zdolnego do najszczerszych uczuć humanitarnych. Nie znali oni jeszcze krzyżackiej, zaborczej strony ducha niemieckiego, którą im objawił dopiero rok siedemdziesiąty. Wówczas to Niemiec wydał się im jako barbarzyniec germański, niegorszy od Cymbrów, Teutonów i Wandalów. I długie lata minęły, zanim Regnard ośmielił się puścić w świat rozprawę o wpływie Niemiec na Francyą w ciągu ostatnich lat dwudziestu. Później o. Didon ogłosił rodzaj tacytowskiej księgi o Niemcach, którym przypisuje wysokie zdrowie moralne, czerstwość ducha i siłę charakteru, zamierające w jego ojczyźnie. Świeżo zaś jeden z profesorów Sorbony zachęca Francuzów do studyowania kultury i dziejów niemieckich i nawet zakłada towarzystwo, poświęcone tym badaniom. Ostatnio, nakoniec ogłosił p. de Wyzewa (Wyzewski) dzieło o Niemcach, z innego rozważając ich stanowiska. Książka jego rozpada się na dwie części, z których pierwsza maluje Niemców przeszłości, Niemców idealnych — prymitywnych malarzy niemieckich, którzy już tylko w muzeach żyją; druga zaś — Niemców rzeczywistych, żywych Berlińczyków współczesnych. Wielkie jest przeciwieństwo między pierwszą a drugą częścią: o ile autor zachwyca się zamarłą sztuką gotycką, o tyle potępia Berlin współczesny. Przyznając prowincyi niemieckiej te cnoty, jakie w nich widzi p. de Staël i o. Didon, w Berlinie znajduje tylko siłę rozkładającą Niemcy moralnie i fizycznie.

P. de Wyzewa ma rzadką zaletę literacką: jest on oryginalny. Lubuje się jednak w paradoksach i z tego wynika, że uwagi rozumne mieszają się u niego z wielkiemi dziwactwami.

Autor uważa siebie za „duszę delikatną“ i z tego właśnie stanowiska sądzi naród niemiecki. Termin ów, dusza delikatna — byłby może doskonały na określenie współczesnego mieszczanina — artysty paryzkiego, gdyby nie to, że przypomina wielce la tendresse z końca XVIII wieku. Dla tego rażą p. Wyzewę niektóre surowości duszy niemieckiej, te same właśnie, któremi się zachwycają profesorowie lub surowy ksiądz Didon. P. de Wyzewa jest artystą i dla tego więcej mu się podobają muzea niemieckie, niżeli żywi Niemcy. Sprzeczność tych dwóch światów i sympatye autora dla pierwszego (świata starych płócien) wywołały ostrą krytykę świata ludzi żywych. Przez dziwną sprzeczność ta druga część opracowaną jest daleko pełniej i lepiej, niżeli część pierwsza, która nosi tytuł: „Podróż do prymitywów niemieckich“. Autor zatrzymuje się w Augsburgu, Monachium i Wiedniu: ogląda obrazy Cranacha, Holbeina, Dürera, Zeitbloma, Wohlgemutha, Burgmaiera i innych — i jako zwolennik prerafaelizmu twierdzi, że Niemcy, opuściwszy te wzory swojej prawdziwej sztuki narodowej, wykoleili się i na fałszywą poszli drogę; autor poświęca tym mistrzom gotyckim, jak również i katedrze augsburskiej — słowa pełne zachwytu, a w Wiedniu ma sentymentalny pomysł odwiedzenia grobu Beethovena, któremu składa hołd w modlitwie. Głównie jednakże w tej pierwszej części swojej książki p. de Wyzewa zajmuje się samym sobą; jest tu zresztą dużo uczuciowego humoru „duszy delikatnej“, która opuszcza troski codzienne i pogrąża się w marzycielskiej poezyi życia koczowniczego. Część druga, p. t. „Życie i obyczaje Niemiec współczesnych“ jest znacznie bogatsza treścią i więcej na świat zewnętrzny zwrócona. I raz jeszcze — zanim spojrzy na czasy dzisiejsze — wspomina autor przeszłość. Ta przeszłość wcale nie zamarła, żyje ona na prowincyi, taka sama prawie, jaką malowała niegdyś p. de Staël: życie to było proste, cnotliwe, surowe, jednostajne — lecz oblane promieniami marzeń bez przedmiotu (Sehnsucht) i dobrotliwego humoru (Gemüth). Anti-pruski autor dziełka „Rembrandt als Erzieher“ powiada: „Muzyka i honor, dzikość i litość, naiwność dziecka i miłość niepodległości, indywidualizm i idealizm — oto są cechy istotne natury niemieckiej“. Jest tu oczywiście nieco dumy narodowej w tem określeniu, autor bowiem zapomina rozszerzyć cechę dzikości, która dochodzi nieraz granic bliskich ludożerstwa, zarazem zmniejszyć rzekomą naiwność dziecinną Niemców. Heine mówi o Niemcach, że są to dęby sentymentalne a Luter, jest dla niego — i słusznie, mieszaniną mistyka-marzyciela z człowiekiem czynu; przyczem Luter jest dla Heinego „najbardziej niemiecki Niemiec“. Jego książka „Niemcy“ jest to apoteoza mistycznej poezyi niemieckiej — wbrew ścisłej i prozaicznej sztuce ras łacińskich.

Tak więc ciągle widzimy tu Niemców jako sentymentalnych marzycieli i entuzyastów, u których byle co staje się herrlich, famos, wunderbar i colossal! Zwłaszcza uderza ich wszystko zagraniczne; mają oni zbyt mało przesądów narodowych; cześć dla Francuzów jest u nich wszechmocną i ogłupiającą. Zachwycają się oni i swoją ojczyzną, ale niejako oficyalnie, ponieważ tak wypada. Towarzysz podróży p. de W., patrząc z okien wagonu na krajobrazy nadreńskie, co chwila wołał: wunderbar, poczem dodał, mówiąc do W.: „My, Niemcy, mamy obowiązek zachwycać się swoją ojczyzną; ale wy, Francuzi, nie macie go — i byłoby szaleństwem, gdybyście to czynili“.

Są to myśli i wrażenia z wagonu. Nakoniec przybywa autor do Berlina i całą mu resztę książki poświęca. I tu, jak wszędzie, zaczyna p. de W. od uogólnień i dopiero potem idzie do szczegółów. Aby studya swoje nad charakterem niemieckim ułatwić, dzieli je na trzy części: zmysły, uczucie i inteligencya, wola i działanie.

Cechą ogólną, jaka uderza w Niemcach jest ich niezgrabność, ciężkość, brak wszelkiej wykwintności, czego żadna cywilizacya z nich zetrzeć nie zdoła. Niezdarność ta zewnętrzna polega na tem, że pięć zmysłów niemieckich pozostało na stopniu najpierwotniejszym, że nie ma w nich tego, co psychologia nazywa ukształceniem wrażliwości, że nie są oni zdolni do rozróżniania odcieniów wrażeń.

Niemcy nie umieją jeść. Kuchnia niemiecka jest jednostajna, bez smaku — nie idzie im o jakość, lecz o ilość. Nie rozumieją oni przyjemności eleganckiego urządzenia stołu. Większość nie jada w domu; obiad połykają prędko i w milczeniu. Serwetek w wielu restauracyach wcale nie podają. Zwyczaj wsuwania nożem potraw do ust, bardzo rozpowszechniony. (Tout comme chez nous). Ten sam brak poczucia rozmaitości — w piciu. Niemcy piją dużo, ale piją tylko piwo i — nic więcej. Sztucznie chcą niektórzy wywołać tę rozmaitość i dla tego założono kilka Weinrestaurationen, gdzie nie wolno pić piwa, ale zakłady te bankrutują.

Toż samo co do powonienia: użycie perfum rozpowszechnione więcej, niż gdziekolwiek, ale jest to wiecznie jedna i ta sama woda kolońska. Słuch: zamiłowanie muzyki namiętne, Niemiec bez muzyki obejść się nie może, w najmniejszej wiosce są Sangvereiny i Musikvereiny; ale obojętność zupełna na to, co grają. Niemiec pragnie tylko, aby mu coś w uchu brzęczało. Koncerty i teatry dają kolejno Beethovena, Straussa, Schumana, Suppégo, Wagnera i Millöckera — a publiczność z jednakowym spokojem wszystko to przyjmuje.

Wzrok zdaje się najgorzej rozwinięty: domy, sklepy, mieszkania, kostiumy w najdzikszych, najniegustowniejszych barwach, bez myśli, bez poczucia, bez wdzięku — mięszanina stylów bezładna i dysharmonijna.

Kobiety ubierają się bez gustu. Postawa mężczyzn sztywna i automatyczna: wszystko wyuczone, nic lekkiego i samoistnego w gestach. Przytem — skutkiem zapewne braku finezyi zmysłów — Niemcy są ordynarni i niegrzeczni dla kobiet; kobieta w ich myśli zajmuje daleko mniej miejsca, niż piwo lub tytoń. Ostatecznie więc zmysły Niemców nie uległy zepsuciu, ale też się nie rozwinęły; są oni takimi barbarzyńcami pod tym względem, jak Germanie Tacyta.

Dziwną sprzeczność z cielesnem nieokrzesaniem, upośledzeniem zmysłów u Niemców, stanowi pewna poezya marzycielska i sentymentalna, która się tu wdziera w najdrobniejsze szczegóły życia. Jest to Gemüth, który oblewa życie Niemców pewną atmosferą idealną; mowa niemiecka jest pełna metafor i abstrakcyi; naj-

prostsi ludzie z byle jakiego powodu wspominają ptaki, gwiazdy, kwiaty.

Siadając do stołu, mówi się „Gesegnete Mahlzeit“. Narzeczeni obowiązani są do pewnej liczby Mondschein Spaziergangów. Dziewczęta mają mało inteligencyi, ale dużo wyobraźni, a w oczach ich maluje się słodkie marzenie bez przedmiotu, niewyraźna potrzeba czułości, jakby oczekiwanie rycerza zaklętego. Lohengrin, na którego czekają, jest to zazwyczaj lejtnant w niebieskim mundurze, ale że oficerom żenić się wolno tylko z oznaczonym posagiem, więc profesor stał się tym ideałem i wiele panien pokochało profesorów na samą wieść ich sławy.

Gemüth składa się z marzenia i wzruszenia; marzenie powstaje z braku idei określonych a wzruszenie, z niem powiązane, jest również bezkształtne i powierzchowne.

Niemcy nie mają woli; brak im inicyatywy i autonomii moralnej; czują oni potrzebę posłuszeństwa. Fryderyk W. mówił, że go męczy panowanie nad tym narodem niewolników.

Duch jednomyślności i regulaminu, duch pewnej dyscypliny karnej i niwelującej, nigdzie jak tu nie jest rozpowszechniony.

Wszystko tu jest automatyczne: nawet partye przeciwne, każda w swojem kole są urządzone w sposób koszarowy. Studenckie Vereiny, są to zgromadzenia, na których młodzież pije, mówi, śpiewa — zgodnie z nakazem prezesa. Vereiny te, mając dać studentom rozkosze koleżeństwa, podnoszą w nich tylko przyrodzony smak regulaminu.

Toż samo znajdujemy w dziedzinie artystycznej i literackiej: dla siebie są oni czasem bardzo oryginalni, ale dla świata chcą być „jak wszyscy“ — i układają swe opinie podług większości i rzeczy uznanych.

Wychowanie szkolne w Niemczech niemniej łamie samodzielność. Ztąd brak wiary w siebie i uwielbienie obcych, szczególnie Francuzów i Anglików. Niemcy (podług p. de W.) nie stworzyli oryginalnych idei, nawet przesławiona filozofia niemiecka jest importowana ze Szkocyi; Kant, Fichte, Szelling, Hegel, Szopenhauer — automatycznie, jakby bezwładnie — rozwijali myśl Hume'a. Tę samą automatyczność widzimy wszędzie: rzeczy bezwładne same się nie poruszają, lecz raz puszczone w ruch już się zatrzymać nie mogą; tak się rozwija automatycznie w Niemczech socyalizm, antisemityzm, bezreligijność, nienawiść ku Francuzom i t. d. W Niemczech klasy społeczne bardziej są niż gdzieindziej podzielone, ale wewnątrz każdej klasy panuje jednomyślność potrzeb, uczuć, dążeń i ambicyi.

Taka dyscyplina wytworzyła się, dzięki warunkom historycznym — na tej dyscyplinie opierała się prostota obyczajów i stara cnota niemiecka. Ale te zaczynają znikać a źródłem rozkładu i zepsucia jest Berlin. I rzecz godna uwagi — demoralizacya, jaką Berlin po całych Niemczech rozsiewa płynie z tą samą siłą automatyczną i epidemiczną — jak wszystko w Niemczech. I tu znajdujemy ową militarną, regulaminową jednomyślność.

Berlin — jest to miasto, które nie więcej istnieje, jak lat 30—40 i bezustannie się zmienia. Przepych olbrzymi, złocenia, barwy jaskrawe, budowle dziwaczne; ale jest to miasto niemiłe, antypatyczne i nudne; nie znaczy to, aby Berlin nie miał być wesoły: owszem, zabawy tu dużo, ale jest coś w Berlinie, że go kochać nie można. Nietylko Francuzi, jak Voltaire, Pesne, ale i Niemcy: Chamisso, Mozart, Goethe, Szyller — nienawidzili Berlina. I dziś każdy Berlińczyk, chwaląc ex officio Stadtbahn, straż ogniową, światło elektryczne, przyznaje po cichu, że jak tylko załatwi interesa — wyjedzie na prowincyę.

Berlin nigdy nie był niczyją ojczyzną; tu się nikt nie urodził; Berlin to nie miasto, to ogromny jarmark, gdzie się zarabia lub wydaje pieniądze.

Wszystko tu fałszywe: nigdzie nie sprzedają tylu fałszywych brylantów, co w Berlinie, a „pod Lipami“ są fałszywe lipy-kasztany. Prawdziwych Berlińczyków niema: na półtora blizko miliona mieszkańców było ledwie pół miliona tu urodzonych; milion ludności obcej, z różnych stron Niemiec zgromadzonej; większość żyje tu tymczasowo; tysiąc na sto tysięcy sprowadza tu rodzinę.

Upadek starych obyczajów, rozkład życia rodzinnego i dawnych tradycyi domowych; wzrost anormalny rozwodów, prostytucyi, kradzieży, kawiarni, teatrów, miejsc rozkoszy; mieszanina przepychu na zewnątrz i skąpstwa wewnątrz; płytkość umysłowa i niezdarna lekkość — rzeczy tak nowe u Niemców — to wszystko wpływ Berlina.

Zewnętrznie Berlin jest karawan-serajem o bezładnych barwach i bezkształtnych budynkach. Wewnątrz mieszkań meble ciężkie, wyzłacane, różnostylowe: ani domy, ani meble nietrwałe; nic łatwiejszego, jak zwalić się murom i sprzętom się rozpaść. Prawie nikt własnych mebli tu niema: wszyscy mieszkają w pokojach meblowanych: lekarze, adwokaci, kupcy, nawet i żonaci. Berlin jest to wielki hotel dla przejezdnych.

Ulica Friedrichstrasse — rozpaczliwie długa i jednostajna. Wystawy sklepowe bez smaku, jak wszystko: witryny aż do ziemi, a w oknie wystawione wszystko niemal, co jest w sklepie. Piekarnie i jatki mięsne — które tak pięknie kolorują ulice Paryża — są tu biednemi sklepikami. Natomiast składy cygar odznaczają się zbytkiem fantastycznym. Gust do jednostajności widać wszędzie: masa bazarów, w których wszystko po jednej cenie za 3 mr., za 2 mr., za 50 fen. — przedmioty najrozmaitsze, bez ładu i składu. Taniość i szyk znaczy tu najwięcej.

W szczególny sposób przekręcają Niemcy znaczenie wyrazów francuzkich, które przyjęli: délicatesse oznacza u nich wędliny, galanterie — wyroby niciane, a matérialiste — jest to kupiec materyałów aptecznych (nawiasem mówiąc, znów: tout comme chez nous).

P. de W. nie znajduje w całym Berlinie dobrego teatru, a nawet wykonanie jest niesumienne i niestaranne. Piwiarnia opanowała wszystko. Nikt nie żyje u siebie. Wszystko odbywa się publicznie. Niema wcale poczucia dyskrecyi. Jeszcze jeden wynik niedelikatności niemieckiej. W gazetach ogłasza się wszystko: narzeczeni zapewniają się o miłości, mąż skarży się na żonę, a ojciec na syna.

Kościół i nabożeństwo jest tylko miejscem rendez-vous, gdzie można usłyszeć ładną muzykę i pogawędzić. Zresztą, zaraźliwie się rozwija niereligijność; u socyalistów niemieckich wojna przeciw religii daleko więcej miejsca zajmuje, niż u socyalistów francuzkich.

Natomiast muzeum, które w niedługim czasie będzie najpiękniejszem muzeum na świecie, licznie bywa odwiedzane w niedzielę. Po południu w niedzielę ludność berlińska jeździ za miasto, do licznych Laubenstadt'ów podmiejskich. Osobliwy zwyczaj zapanował tu, że „rodziny same gotują kawę“, o czem osobne szyldy zawiadamiają.

Wobec tego nowego życia — szlachta niemiecka niezdolną jest przystosować się do jego warunków — i albo korupcyi ulega — albo na wieś ucieka. Młodzież rycerska psuje się w zetknięciu z stolicą: w momencie, kiedy p. W. był w Berlinie, w krótkim przeciągu czasu miały miejsce trzy samobójstwa młodych szlachciców. Szlachta mały udział przyjmuje w życiu berlińskiem, jak niemniej armia. Jednak w armii właśnie, śród oficerów, przepisami niejako skazanych na odosobnienie, znalazł p. de W. najwięcej „dusz delikatnych“, najwięcej zrozumienia nowych prądów literackich i artystycznych. Wiadomo, że najlepszy z dzisiejszych poetów niemieckich, Lilienkron, jest oficerem.

Natomiast obszerne miejsce w życiu berlińskiem zajmują żydzi, którzy tu bynajmniej się nie zleli z narodem, jak to jest we Francyi lub Anglii, lecz zachowują pewne cechy specyalne, trzymają się oddzielnie i stanowią jakby korporacyę, bardzo solidarną. Antisemityzm jednak berliński jest tylko opinią metafizyczną i niczem poważnem nie grozi. Jednakże kupcy berlińscy chcą wyprzeć żydów, zwłaszcza z handlu i założyli w tym celu ogromny magazyn, w rodzaju Luwru paryzkiego, magazyn, który tem się od wszystkich innych sklepów odróżnia, że nie ma żadnej wystawy i wygląda na rodzaj biura, którego kupcy mają minę surowych biurokratów.

Robotnicy mają wielkie ułatwienia pod względem wykształcenia i wychowania dzieci; nadano im prawa wyborcze i mają wolność stowarzyszeń. Ale za to są oni źle płatni, źle żywieni i — przeciążeni robotą; 18—24 marek tygodniowo — to ich zarobek; kobiety zarabiają dziennie nie więcej nad 1,50. Mają oni jednak bardzo tanie kuchnie, gdzie porcya kosztuje 25 fenigów; ale — na nieszczęście — robotnik niemiecki wydaje większą część swego zarobku w „destillation“ (szynku). Tak mówi p. de W. Szynki te są zwykłe w suterenach, w których całe niemal życie robotnika upływa. Mieszka w suterenach, jada w nich, pija. Suteren w Berlinie w r. 1881 było 23,289; w nich liczono 100,031 mieszkańców. Szynków było 9000. W sobotę całą noc szynki są pełne.

Zebrania robotnicze noszą czysto niemieckie cechy jednomyślności; mówca przemawia a słuchacze piją piwo i od czasu do czasu wołają: recht! sehr richtig!

Socyalizm rozwija się epidemicznie; Bebel zorganizował go militarnie, na wzór istniejącego porządku. W Berlinie liczą dziś 200,000 socyalistów. Autor jednak sądzi, że socyalizm berliński nie przedstawia nic niebezpiecznego: jest to dla nich szereg zebrań publicznych, na których można pić, klaskać i oburzać się do woli. Wszelki wybuch przerwałby te przyjemności.

Inne grożą Berlinowi niebezpieczeństwa: rozpowszechnienie kradzieży i prostytucyi. W r. 1873 było 38,464 kradzieży; w r. 1881 było ich 141,000, w r. 1890 dwa razy tyle. I armia przestępców jest zorganizowaną militarnie i ma swój regulamin. Prostytucya również rośnie przeraźliwie: w roku 1884 na 9421 kobiet aresztowanych zatrzymano 8707 za prostytucyę. W ogóle biorąc, w tym samym czasie, kiedy ludność Berlina wzniosła się o 20 proc., prostytucya urosła o 50 proc. Statystyka oczywiście wspomina tylko o dziewczętach zapisanych, ale niewątpliwie jest jeszcze ogromna kategorya prostytutek niezapisanych. Rozrost prostytucyi jest wynikiem ciężkich warunków bytu, ale też jest dziełem Berlina: na tym jarmarku, gdzie znika poczucie życia rodzinnego, nic innego być nie może... Inną klęską Berlina są rozwody. Rozpowszechnia się też t. zw. wilde Ehe (życie na wiarę).

Takim jest Berlin. Jak widzimy, autor maluje go bardzo czarno. W tem mieście prowizorycznem — wszelka moralność stała się prowizoryczną. Moraliści i kaznodzieje nic nie pomogą, dopóki Berlin zachowa tę cechę nagle zbudowanej w środku Niemiec, ogromnej budy jarmarcznej.

Autor dodaje taką anegdotkę: Pewien podróżny zajechał do jakiejś wioski i napotkał w niej tylko kulawego żebraka: ztąd wniosł, że wszyscy mieszkańcy tej wioski są żebrakami i kulawymi. Może — powiada p. W. — i ze mną tak było. Nam się zdaje, że to bardzo być może....

A. Lange.

MŁODA POLSKA.

Pod tytułem „Kartka z życia umysłowego Poznania“ pojawiła się w wiedeńskim tygodniku „Przełom“, organie posłów Lewickiego, Szczepanowskiego i Rutowskiego, następująca ocena działalności „Młodej Polski“ na gruncie poznańskim. Artykuł „Przełomu“ jest wymowną odpowiedzią na pamflet „Przeglądu Polskiego“, powtórzony skwapliwie w „Kuryerze Poznańskim“. Z tego jedynie powodu przytaczamy go w brzmieniu dosłownem:

„Przywykliśmy już niemal od zaboru pruskiego żądać mniej dowodów narodowej żywotności, niższą mierzyć skalą życie umysłowe tej dzielnicy, niż ta, którą przykładamy do Galicyi lub

Królestwa. Powody tej różnicy są bez wątpienia ważne; znając je, nie możemy wydawać surowego sądu o nielicznem społeczeństwie, które najlepsze swe siły zużywać musi w ciągłych utarczkach politycznej walki, bronić się od zalewu germańskiej narodowości, a co jeszcze trudniej, od germańskiej kultury, bądź co bądź wyższej niż nasza. Pomimo to przecież trudno zaprzeczyć, że brak tam ludzi, którzyby krytyce poddali istniejące stosunki, a siłą własnej inicyatywy zwyciężyć potrafili ospałość i niechęć otoczenia. Najlepszym tego dowodem fakt, że w ciągu ostatnich lat piętnastu, a więc od chwili zamknięcia księgarni Żupańskiego, która wydawała nawet dzieła wielkie i poważne, ruch wydawniczy ogranicza się niemal do literatury dziecinnej, ludowej i dewocyjnej, i że radzi być musimy, skoro przynajmniej z zakresu literatury kościelnej ukaże się jakieś większe dzieło, dowodzące jeżeli nie dzisiejszej, to dawnej żywotności naszego narodu, jak n. p. *Monumenta musicae sacrae in Polonia*, wydane w ciągu ostatnich lat kilku przez księgarnią Leitgebra.

Nie mam przecież zamiaru poddawać ocenie ruchu wydawniczego, czy umysłowego wogóle, ale radbym zwrócić uwagę czytelników na pocieszający objaw, który zapowiadać się zdaje, że mijają owe czasy zastoju, że postępowa myśl polska potrafiła stworzyć na poznańskiej pustyni oazę, tem bardziej zastanawiającą podróżnika, iż jest jedyną. Redakcya tygodnika treści literacko-społeczno-politycznej „Przeglądu Poznańskiego“ jest ogniskiem, dokoła którego skupiła się niewielka dotąd garstka ludzi młodych, zdolnych, którzy istniejące stosunki przeobrazić postanowili, oczyścić atmosferę z miazmatów zgnilizny, odświeżyć prądami, jakie panują w europejskiej literaturze i filozofii.

Zadanie to w istocie niełatwe: na każdym kroku potknąć się można o przeszkody w postaci apatyi, bierności i obojętności społeczeństwa, które zamiast pomocy, dodaje niechęć, najlepsze zamiary unicestwia przez osobiste intrygi, a nieraz i potwarz. To też garstka, która sama siebie nazywa „młodą Polską“, walczyć musi na każdym kroku z partyą starszej inteligencyi, grupującej się koło „Dziennika“ i „Kuryera“. Ta ostatnia ma poza sobą tradycyą, oficyalne przedstawicielstwo w parlamencie, a przedewszystkiem zadowolnienie z istniejącego *status quo*.

Napróżno tryumfowano, że wszelkie idee postępu i przewrotu, wszelkie *izmy*, które tak bujnie rozpostarły się w państwie niemieckiem, Poznań omijają, że stosunki są w Księztwie niemal patryarchalne, nie bacząc, że patryarchalizm ten tak potężnie dopomógł do zniemczenia prowincyi i takim obszarom polskiej ziemi przejść pozwolił w obce ręce. Dziś wszystkie te nowe prądy nieśmiało zrazu, ale coraz otwarciej występują w utworach literackich, scenicznych, w odczytach i zgromadzeniach, urządzanych przez „młodą Polskę“.

Mniejsza, że ludzie, którzy przez lata całe siedzieli przy jednem redakcyjnem biurku, nie znają się dziś wcale, o co nie łatwo w małym Poznaniu, ale że rozjątrzenie wzajemne doszło do tego, iż „starsi“ paraliżować się starają najlepsze chęci i usiłowania „młodych“, to smutny objaw. Wpływa on ujemnie na samą treść umysłowej roboty, wywołuje rozgoryczenie, zniechęca i rozstrzela siły, które jedynie na walkę z wrogiem narodowości i kultury skierowane być powinny, a i tak niemałe mają zadanie z budzeniem niechętnego i zabagnionego społeczeństwa.

Nie jest to przecież przesada, jak dowieść tego można na dziejach ostatniego półrocza chociażby. Wystarczą dwa drobne, ale charakterystyczne fakty.

Jak wiadomo, przy ostatniem głosowaniu nad ustawą przewrotową w parlamencie niemieckim, oświadczyło się Koło polskie przeciw projektowi, zarówno w przedłożeniu rządowem, jak i w opracowaniu komisyi. Opozycyę swoję Koło motywowało zgubnym wpływem, jaki na losy narodowości polskiej wywierają wszelkie prawa wyjątkowe. Społeczeństwo, a więc wyborcy powinni byli w tem postanowieniu przedstawicieli swojich poprzeć i potwierdzić. Setki petycyi od miast, prowincyi i grup nadpływały do parlamentu, protestując przeciwko ustawie. Gdyby przeto narodowość najwięcej uciśniona w państwie, dla której ustawa stać się mogła kneblem, tamującym przejaw wszelkiej swobodniejszej i narodowej myśli, zachowała się wobec niej biernie, byłoby to dowodem nie już ospałości politycznej, ale podłem tchórzostwem. Zdaje się przeto, że w interesie wszystkich partyi leżał jak najenergiczniejszy protest. Cóż się jednak dzieje?

Oto dwaj przedstawiciele „młodej Polski“ i redakcyi „Przeglądu Poznańskiego“ dr. Krysiewicz i dr. Władysław Rabski zwołują zebranie wyborców miasta Poznania.*) Publiczność jednogłośnie oświadcza się przeciwko ustawie, potępia wszelką chwiejność posłów swoich w parlamencie. Potępia również bezwzględną tajność uchwał, jaką otaczają się parlamentarni jej przedstawiciele, żądając informacyi o wyniku obrad i głosowań, o ile to nie sprzeciwia się chwilowym interesom politycznym. Zgromadzenie udało się. „Dziennik Poznański“ nawet wyraźnie antirządową przybrał postawę, a społeczeństwo bez wyjątku niemal oświadczyło się za wnioskami mówców. Poza słuszną sprawą stały przecież osobistości znienawidzone, inicyatorowie zgromadzenia. Młodzi pozyskują popularność, przemawiają do szerokiego koła, które nie syka, lecz przyklaskuje!

Rozpoczęła się tedy gorąca walka, a nawet osobiste wycieczki. „Nienawiść dzienników, jak odpowiadając na nie, wyraża się „Przegląd“, do pewnych grup i jednostek politycznych przeradziła się w jakąś manją, zagłuszającą najelementarniejsze postulaty szlachetności, taktu i parlamentaryzmu“...

A oto drugi fakt z innej dziedziny społecznego życia. Redaktor „Przeglądu“, p. Władysław Rabski jest zdolnym autorem dramatycznym, a z dwóch sztuk, jakie dotąd napisał („Asceta“ i „Zwyciężony“), przegląda znajomość warunków scenicznych, dużo subtelnego i świeżego uczucia, a zwłaszcza prawdziwy talent. „Zwyciężonego“ wybrał w marcu, czy lutym na benefis swój artysta Sosnowski. Dyrekcya niechętnie wybór ten przyjęła, ale sztuka zapełnić mogła pusty zwykle przybytek Melpomeny, ustąpiono więc żądaniu artysty.

Przed benefisem agitowano wedle sił dla zabicia sztuki. Podobno zamierzano urządzić nawet skandal na paradysie, ale na te głuche wieści niema dowodów. Faktem jest przecież, że dla utrzymywania spokoju rozmieszczono w teatralnym gmachu sześciu policyantów. Jeden z tych stróżów porządku publicznego zbliżył się z protekcyonalną miną do autora, poklepał go po ramieniu i zapewnił, „że może być spokojnym, gdyż on czuwa nad porządkiem“...

Tymczasem kurtyna się podnosi, rozpoczyna się dramat; akcya rozwija się żywo i swobodnie, po scenie poruszają się prawdziwi ludzie, wielkopolskie typy z wielkopańskiego dworu, i trochę może obce na poznańskim gruncie postacie demagogów-polityków, oraz utalentowanego publicysty, bohatera dramatu, Zygmunta Wolskiego. Sztuka ma tło polityczne: naprzeciw siebie stają dwie partye. Szlachta, dla której polityka służy za sposób do podtrzymania wpływu, bezwzględna, nieprzebierająca w środkach, bo tu chodzi dla niej o śmierć i życie, o zachowanie dotychczasowego stanowiska w hierarchii społecznej, mierzy się z opozycyą demokratyczną. Ideologicznych pierwiastków wśród tej ostatniej niewiele, ale silnymi rysami nakreślony obraz typów przedstawicieli ludowych, szorstkich, ale uczciwych, którzy istotnie mają zamiar służenia interesowi kraju, którego są użytecznymi obywatelami.

Jakkolwiek tendencya ważny stanowi w sztuce pierwiastek, to przecież nie występuje ona na plan pierwszy, który zajmuje raczej wiecznie świeża i młoda historya ludzkiego serca. Trybun ludowy Wolski jest prawdziwym człowiekiem, a więc umie czuć głęboko, kochać gorąco i szczerze, nie rachując się przytem z szablonem politycznych swoich przekonań. To właśnie sprowadza katastrofę: wobec żony, pochodzącej z wrogiego hrabiowskiego obozu, zachwiał się, osłabł na chwilę i demokratyczny obóz uważać go może za zdrajcę, bo zapomniał o jego interesach wobec uczuć swych osobistych. Pogarda dawnych druhów łamie Wolskiego i zabija domowe jego szczęście: rozstaje się z żoną, która powodem była moralnego jego bankructwa....

Prawdziwie ludzki, dramatyczny pierwiastek sztuki oddziałał na publiczność; frenetycznym oklaskom i wywoływaniom autora nie było końca, entuzyazm ogarnął zebranych. Policya okazała się zbyteczną. Nazajutrz żadne z pism codziennych nie dało sprawozdania o sztuce, dopiero w kilka dni potem ukazały się długie recenzye z mnóstwem nauk, wskazówek, obniżające wartość dramatu do minimum, choć wszystkie przyznawały autorowi talent.

Sądzę, że te dwa epizody wystarczą dla scharakteryzowania trudności, z jakiemi młody duch postępowy walczyć musi, i wyświetlenia stanowiska, które „młoda Polska“ zająć musiała na razie, aby przygotować grunt dla przyszłego działania.

Przedewszystkiem grupa ta jest dotąd bardzo niewielką: liczy ona zwolenników wśród różnych warstw inteligencyi, a więc prawników, lekarzy, nauczycieli, kupców, są nawet i rzemieślnicy, którzy do solidarności z inteligencyą się poczuwają. Nietyle Poznań, co prowincya dostarcza tu członków, wogóle jednak dla stworzenia politycznej partyi, a więc takiej, któraby nietylko potrafiła krytykować, ale postawiła również program pozytywny, ludzi jeszcze brak. Trzeba tu więc przedewszystkiem obudzić ruch umysłowy, wywołać zainteresowanie dla spraw literackich, filozoficznych, dla wytworów sztuki i literatury narodowej, trzeba poddać krytyce różne postulaty etyczne i okazać ich względne znaczenie, wyrobić moralne prawa swobodnego wypowiadania dla wolnej myśli i krytyki, słowem oczyścić atmosferę zatęchłą, w której tak dobrze było żyć i oddychać różnym lokalnym wielkościom. W takich warunkach pojawienie się pisma tygodniowego, któreby nietyle miało na uwadze sprawy dnia, co zagadnienia zasadnicze i kulturalne, pierwszorzędną było potrzebą.

Przed półtora rokiem też z pośród „młodej Polski“ wyłonił się rodzaj towarzystwa akcyjnego o nizkich wkładach, za które założony został tygodnik „Przegląd Poznański“. Na redaktora wybrano wspomnianego wyżej dr. Władysława Rabskiego, najwybitniejszą i najruchliwszą z pośród „Młodych“ osobistości. Poza redaktorem stoi wielogłowy komitet, który zawiaduje funduszami i rozstrzyga najważniejsze redakcyjne kwestye. Program pisma nie od razu wystąpił jasno i kto wie, czy nie było to błędem, pomijał bowiem sposobność wytworzenia stronnictwa politycznego; nie stał się również „Przegląd“ rzecznikiem jasno określonych filozoficznych, estetycznych, czy społecznych poglądów. W ciągu roku przecież redakcya zdołała się wypowiedzieć, a samo życie i jego rozwój zaznaczały ramy, w których „Przegląd“ w przyszłości działać będzie.

W polityce uważać możemy nowe pismo za wyraz opozycyi przeciwko dotychczasowej, niepopularnej polityce Koła polskiego w Berlinie. Jest on organem demokratycznym, jakkolwiek za wyraziciela dążności jakiejkolwiek partyi, czy warstwy społecznej uważać go nie możemy. Walka z niemieckiemi żywiołami, którym zawsze niedość wpływu i panowania, które nietylko w urzędach, w szkole, w prasie, ale nawet z katedr profesorskich w Berlinie podszczuwają przeciwko Polakom i grożą polonizacyą germańskich żywiołów na wschodzie, jest niezbędnym punktem programu. Drobne utarczki, do jakich tyle powodów dostarczają poznańskie stosunki, „Przegląd“ pozostawia pismom codziennym. Walka z niemczyzną wyraża się raczej wyborem tematów, które omawiają przeważnie stosunki i utwory literackie polskie, i przeglądami prasy miejscowej polskiej, która wobec niemieckiej zajmuje tak często miejsce

*) Nasza redakcya dała tylko inicyatywę zebrania i ułożyła rezolucye, — samem zwołaniem zebrania zajęła się redakcya „Gońca Wielk.“, którego zwolennicy poparli usiłowania nasze. (Przyp. Red.).

Kopciuszka. Wybitną jest również dążność do obrazowania życia innych narodów i narodków słowiańskich, przejawia się ona w bardzo umiejętnie prowadzonych przeglądach prasy słowiańskiej, z których wyłącza się prasę rosyjską. Oddzielne artykuły dłuższe poświęcono stosunkom Czech i Rusinów galicyjskich. Sprawy śląskie, galicyjskie, kroniki z Królestwa, zajmują zawsze bardzo poczesne miejsce. Nie można więc zaprzeczyć, iż „Przegląd“ świadomie i wyraźnie dąży do objęcia kulturalnego życia wszystkich zaborów Polski, i że chce je przedstawić na tle ogólno-słowiańskiego życia kulturalnego i literackiego, wykazując w ten sposób, że są inne źródła wiedzy, myśli i sztuki oprócz zachodnio-europejskich. A dla masy czytelników, obojętnych dotąd dla życia umysłowego wogóle, a tem mniej dbałych o zachowanie jego cech swojskich, narodowościowych, jest to niewątpliwie względem pierwszorzędnym.

Walka ze szlachetczyzną, zastojem, obojętnością, niekiedy nawet wadami społeczeństwa poznańskiego, zapełniać musi niestety wiele szpalt. Tu jednak trzeba postępować ostrożnie. Sprawy religijne naprzykład tak ważną na poznańskim gruncie stanowią kategoryą, że walka z dogmatem pomijaną być musi, jakkolwiekby największa swoboda przekonań leżała w tendencyi pisma. Zresztą minęły już czasy religijnego racyonalizmu, przekonano się, że religijność, to często zakątek duszy, do którego chronią się szlachetniejsze aspiracye, że tępić ich nie można, nie postawiwszy na to miejsce fundamentu wiedzy, czy filozofii. Krytyka literacka i filozoficzne artykuły wypowiadają przeto owe liberalne poglądy, któremi np. przed lat dziesiątkiem „Prawda“ zdobywała umysły warszawskie.

Naturalnie, że młoda i mało zamożna redakcya zależną jest nieraz od tego, co się na redakcyjnem biurku znajdzie, temu też przypisać należy brak artykułów treści społecznej, które przecież bardzo ważnym czynnikiem byłyby w oddziaływaniu na czytelników.

Z prac większych drukował dotąd „Przegląd“ Asnyka „Przed jutrem“. (Powitanie nowego roku), studyum Piotra Chmielowskiego „Fazy twórczości Asnyka“, Cezarego Jellenty „Prywatne stosunki z muzą“, Wł. Rabskiego „Studyum o Hauptmanie“, L. Wasilewskiego dwa studya „Stosunki partyjne Czech i literackie Rusi Halickiej“ i kilka innych.

Dział powieściowy „Przeglądu“ wypełniają najczęściej przekłady utworów nowszych słowiańskich lub skandynawskich, z oryginalnych drukowano piękną powieść Żeromskiego „Mogiła“, omawiany już dramat Wład. Rabskiego „Zwyciężony“, drobne, a pełne uczucia nowelki Zeisingerówny i inne pomniejsze.

Widzimy tedy, że pismo potrafiło sobie zjednać liczne siły literackie, wiele ono przecież traci przez brak sił miejscowych.

Ostatnim poświęćmy słów kilka, gdyż one to właśnie stanowią rdzeń owej grupy postępowej, od której spodziewamy się stworzenia szerokiego umysłowego ruchu na narodowym gruncie.

Zacząć musimy od redaktora. Pan dr. Władysław Rabski, jak mówiliśmy wyżej, utalentowany pisarz dramatyczny, jest również świetnym mówcą i bardzo zdolnym, choć może mało jeszcze wyrobionym publicystą. Jego artykuły wstępne są mniej udatne, aniżeli feljetony. Te ostatnie, ukazujące się co tydzień pod tytułem „*Na wyłomie*“ zjednać z czasem powinny „Przeglądowi“ szeroką poczytność. Talenty feljetonowe należą bodaj do najrzadszych. W Galicyi n. p. nikt dotąd nie potrafi zastąpić Lama, Warszawa od lat wielu posiada trzech feljetonistów, do których nie przybywa żaden nowy talent. „Na wyłomie“ nie dorównywa jeszcze swobodnemu humorowi Prusa, nie przemawia lapidarnym językiem Posła Prawdy („Prawda“), nie skrzy się dowcipem, jak „*Bez obłudy*“ Maryana Bohusza („Głos“), ale jego młody autor porusza zwykle sprawy żywotne, czyniąc to śmiało, bezwzględnie, dowcipnie i trafnie. W każdym feljetonie niemal znać postęp; język coraz barwniejszy, strzały padają celnie, dowcip niewymuszony i swobodny daje nadzieję, że przybywa nam czwarta feljetonowa siła, która stanie wkrótce obok trzech wymienionych.

Uzdolnienie dr. Wł. Rabskiego nosi na sobie tak wybitne piętno literackiego współczesnego talentu, który więcej obrazuje niż pogłębia, częściej przejawia subtelność i trafność, niż siłę, który zawsze jest człowiekiem chwili, gotowym do odparowania ciosów przeciwnika, a chyba w bardzo rzadkich momentach filozofem, że nadaje on się wybornie na kierownika pisma, które właśnie chwilę odtwarzać i na jej korzyść oddziaływać powinno. Miejmy też nadzieję, że pismo w Księstwie trwale się utrzyma.

Drugą bardzo dodatnią siłą jest pan dr. Szuman, który rozpocząwszy od broszury o społeczeństwie poznańskiem, daje głównie artykuły, zawierające krytykę stosunków lokalnych. Artykuły jego, zarówno jak i owa większa praca, posiadają dużo siły, język dźwięczny głębokiem przekonaniem, jakkolwiek brak mu jasno określonego stanowiska, z którego krytykowałby zasady. Smaga więc objawy nepotyzmu, zaściankowości, zastoju, intrygi, karyerowiczostwo, apatyą, ale nie stawia żądań pozytywnych, które zgrupowaćby mogły dokoła siebie stronnictwo polityczne, a szkoda, bo jak się zdaje, dr. S. najśmielszym i najwięcej bezwzględnym byłby tu człowiekiem; takich w Poznaniu mało. Bardzo dzielną publicystyczną siłą jest p. Iza Moszczeńska, znana głównie z pedagogicznych rozprawek, drukowanych w warszawskim „Przeglądzie“. Artykuły jej, przejęte postępową myślą, śmiałe, barwnym pisane stylem, różnostronne, czynią z niej niezmiernie użyteczną publicystkę, która w każdem piśmie byłaby pożądaną. Dokoła tej drobnej grupy wyrabiają się młode talenty, jak Rapacki, Jarogniew i inni, dla których istnienie organu zgodne z ich dążnościami wypowiadającego poglądy, jest bodźcem i zachętą do pracy.

Należałoby na zakończenie powiedzieć jeszcze słów parę o rezultatach pracy „młodej Polski“, o stopniowem zwiększaniu się choćby liczby abonentów pisma. Krótki czas istnienia „Przeglądu“ jest może przyczyną, z powodu której jest ona dotąd niewielką, ale wszelki postęp idzie powoli i powolnością tą zrażać się nie można. Zresztą i działalność „młodej Polski“ nie objęła dotąd szerokiego koła, a więc niema tu odczytów o kwestyach żywotnych, które ściągałyby tłumy publiczności, a dla wypowiadania których i zamiejscowe siły przyciągnąćby łatwo, brak szerszej i wyraźnej agitacyi politycznej, która pomnaża zastęp wrogów, lecz jednocześnie i przyjaciół. Miejmy nadzieję, że się to wszystko z czasem znajdzie, że obok pisma ukaże się szereg wydawnictw, a obok polityki i działalności „vom Fall zu Fall“ stanie wyraźnie określony program i pojawi się śmiała walka z zastojem i z biernością społeczeństwa poznańskiego“.

S. Z. Dański.

NA WYŁOMIE.

(Galicyjscy goście. — Jakie wrażenia ich czekają? — Pozory mylą. — Potrzeba dokładnych informacyi. — Apel do młodszej inteligencyi).

Galicya zatem rewizytuje Poznań. Jutro powitamy ją na dworcu poznańskim w streszczeniu stugłowej reprezentacyi wszystkich stanów, — powitamy ją bez tryumfalnych owacyi, któremi Lwów rozbrzmiewał w roku wystawowym, — powitamy ją tak, jak wita żołnierz na szańcach, otoczonych armią milionową.

Jakie ci galicyjscy goście z Poznania wywiozą wrażenie, — trudno się łudzić. Wystawa nosi wybitne piętno niemieckości, — miasto z tłumem urzędników, kupców, oficerów, profesorów niemieckich, z siecią szyldów, tablic, plakatów niepolskich, z pruskiemi orłami i pomnikami, wywiera na przelotnych widzów wrażenie germańskiego potopu, z którego zaledwie arka polskości żywa wypłynęła, — a my? a duchowa fizyonomia społeczeństwa polskiego? Mówił mi niegdyś jeden z publicystów zakordonowych, że o ile studya nad ludem naszym do najpomyślniejszych uprawniają wniosków, o tyle inteligencya poznańska wywiera wrażenie — „z g a s z o n y c h...“

Miasto zniemczone! Nie, ale pokost niemieckości pruskim pędzlem nałożono rynkom i ulicom, ale zepchnięto nas z wyżyn społecznych importem obcej inteligencyi i w takim kostyumie germańskim pokazują nas światu. Nas te świecidła niemieckie nie łudzą, my wiemy, że na poddaszach, w podwórzach, na przedmieściach żyją tysiące polskich mrówek roboczych, wiemy, że w miarę tłumienia polskich świateł na społecznych szczytach rosną światła narodowe w nizinach, wiemy, że nie udało się Prusom zdusić życia naszego, tylko punkt ciężkości przesunąć, — ale na dwudniowych gości niemiecki pokost zwykle przygnębiające wywiera wrażenie. Pytałem nieraz wędrowne ptaki o uczucia wyniesione z Poznania. Mówiono mi: „Jest źle. To niemieckie miasto“. A wczoraj jeszcze podobny okrzyk odbił się o uszy moje. Jeden z literatów i turystów polskich w przejeździe przez Poznań odwiedził redakcyę.

— Pokażcie mi miasto.

— Dobrze! — Idziemy.

Na Zielonym placu garść dzieci polskich igrała wesoło. Dziecięca swoboda, rumiane policzki i oczy roziskrzone radością mają swój urok oryginalny, który melancholika nawet rozchmurzyć może. Siadamy zatem na ławce, łowiąc uchem melodyę śmiechów i szczebiotów, — gdy nagle tańcząca gromadka ozwała się chórem niemieckiej piosenki.

Uśmiechnięty mój towarzysz spoważniał. Chwilę wsłuchiwał się zadumany w te cudze dźwięki i rzekł głosem zirytowanym:

— Już dzisiaj drugi raz słyszę niemieckie śpiewy w ustach dzieci polskich. Snać galopuje germanizacya, — lat 50 jeszcze i po was.

Mówiłem mu, że to produkt mechanicznej nauki szkolnej, która germanizuje pamięć, lecz serc naszych dzieci jeszcze nie zniemczyła. Mówiłem dalej, że niemieckość pochłania nas wprawdzie w kierunku ekonomicznym, że może zamienić nas w naród nędzarzy, ale patryotyzmu nie zdusiła i zdusić nie zdoła, — on jednak powtarzał uporczywie: „Źle z wami“. Nie znał życia naszego, nie badał prądów, nurtujących społeczeństwo, nie mierzył intenzywności światła i temperatury narodowej w szerokich warstwach ludowych, więc ten jeden w przelocie uchwycony szczegół stał się dla niego wrażeniem silnem i uczuciowo decydującem.

Jeszcze dziwniejszych złudzeń ofiarą stają się goście poznańscy w dziedzinie wewnętrznych politycznych stosunków. Wyjaśniłem niegdyś w dłuższym artykule, ile to fałszywych wieści o naszych starciach koteryjnych, naszych instytucyach i działaczach publicznych roznoszą po świecie korespondenci poznańscy do pism galicyjskich. Jedni urabiają opinię w duchu „K u r y e r o w y m“, inni w „D z i e n n i k o w y m“, a Galicya, spoglądająca na nas przez pryzmat takich doniesień, nabiera najfałszywszych wyobrażeń o przyczynach zamieszek naszych, o rozmiarach i celach opozycyi, o przedstawicielach wyklętych obozów. A skoro bratnie drużyny przybywają do nas w gościnę, otacza ich zwykle kordon straży bezpieczeństwa, wysłany przez poznańskich królików, i znowu widzą „Kuryera“, widzą „Dzienik“ stary, znowu słyszą oklepane piosenki, że „w państwie Duńczyków nic się nie popsuło“, lub że „kilku ambitnych warchołów“ i „garść duchem żydowskim przejętych Masonów“ stara się bezskutecznie zarazę roznosić po kraju. Nic więcej. Przytem wypija się kilkadziesiąt omszałych gąsiorków, woła na całe gardło „Kochajmy się“, wznosi toasty na cześć luminarzy miejskich i znowu idzie poczta do Galicyi, że Poznań to raj prawdziwy, w którym jest wprawdzie więcej jak jeden Ałłah i jeden Mahomet, ale wszyscy z tej samej ulepieni gliny. Niewierni zaś — to nieczyste duchy.

Czyżby jutrzejszych przybyszów galicyjskich czekały te same iluzye? To od naszej

zabiegliwości a w części i od nich samych zależy. Jeżeli pozbędziemy się fałszywej skromności wobec stereotypowych opiekunów wszelkich kongresów i wycieczek, jeżeli weźmiemy rozbrat z dotychczasową apatyą i zajmiemy się szczerze gośćmi naszemi, prostując mylne opinie, odsłaniając kurtyny życia naszego, cytując to wszystko, o czem milczą korespondenci galicyjskich czasopism, to tem samem sparaliżujemy wpływ jednostronny rozmaitych telefonów dziennikarskich i podszepty tych, którzyby stu przybyszów galicyjskich zamienić chcieli w stu wyznawców własnego kościoła i stu głosicieli własnej nieomylności. Z drugiej strony gościom naszym zalecamy szukanie ludzi różnych obozów i pogoń za informacyami, a na pamiątkę radzimy zabrać garść tych pism i pisemek poznańskich, których w lwowskich i krakowskich kawiarniach nie znajdą, a które odsłonią im nieznane i niekiedy nader interesujące strony życia naszego. My jesteśmy ciekawem społeczeństwem, — trzeba jednak zajrzeć w głębiny, targnąć kulisami i słuchać nietylko głosu trąb Jerychońskich, lecz także skromniejszych piszczałek, aby znaleść temat do poważnych refleksyi, krwawej satyry Juvenala, lub spokojnej ironii Horaza.

Nie łudzę się oczywiście nadzieją, że dwudniowy pobyt galicyjskich gości, zajętych zwiedzaniem miasta i wystawy, może wpłynąć rewolucyjnie na zmianę opinii, — ale ponieważ wycieczka jutrzejsza nie jest prawdopodobnie ostatnią, ponieważ i w następnych latach przy okazyi zjazdów i kongresów witać będziemy galicyjskich gości, więc garść tych uwag stanie się może dla młodszej inteligencyi pobudką, aby w tym kierunku stale pracowała. Niejeden z druhów bratniej dzielnicy zainteresuje się odmiennem od korespondentów poznańskich poglądem, niejeden zapragnie bliżej rozpatrzeć się w ciekawej ewolucyi społecznej, rozgrywającej się w latach ostatnich, i wątek raz uchwycony śledzić będzie w tych mniejszych formatem ale wpływowych organach, których nieomal wcale nie widuje Galicya. Wiadomo mi, że pobyt Poznańczyków na wystawie lwowskiej podobny uwieńczył rezultat. Znam kilku ludzi śledzących od roku nader pilnie rozwój sprawy demokratycznej na gruncie galicyjskim, znam ludzi domagających się natarczywie w cukierniach „Kuryera lwowskiego“ i abonujących stale „Przyjaciela ludu“ (Lwów). Nas otwartemi witano rękami i ciceronowano nam nietylko w pawilonach wystawy, lecz z równą gotowością w krużgankach politycznych stosunków. Podążmy zatem galicyjskim śladem. Bądźmy nietylko Baedekerami Poznania, lecz otwartą księgą życia społecznego.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

W nr. 27 lipskiego czasopisma „Internationale Litteraturbriefe“ znajduje się obszerny artykuł znanego krytyka i tłomacza utworów polskich, Henryka Nitschmana, p. t. „Litterarische Streifzüge nach Polen“. Autor podnosi z uznaniem utwory Rodziewiczówny, Kowerskiej, Sienkiewicza, Dąbrowskiego, Tetmajera, Rabskiego, Sewera, Dygasińskiego, Kasprowicza, Sarneckiego, Zglińskiego, Chmielowskiego, Gawalewicza, Zagórskiego i kilku innych.

* * *

Wojciech Gerson. Znawstwo prawdziwe i rzekome w malarstwie. Warszawa 1895.

W dziedzinie naszej literatury estetycznej tak rzadko spotykamy utwór poważniejszy i dokładną znajomością rzeczy podyktowany, że pojawienie się na tem polu, choćby tylko maleńkiej, lecz głębszą myślą przejętej broszury, witamy jako „zdarzenie“ w piśmiennictwie. Takim utworem jest bez wątpienia książka Wojciecha Gersona p. t. „Znawstwo prawdziwe i rzekome w malarstwie“. Na 30 stronnicach rozsuto w tej broszurze tyle trafnych poglądów na charakter wpływów działających w malarstwie, na tworzenie i pojęcie „szkoły“, na krytycyzm artystyczny, na rozliczne sposoby sądzenia przedmiotów sztuki, na prawidła twórczości, na istotę piękna i prawdy w malarstwie, na różnice prawdziwego znawstwa i entuzyastycznego dyletantyzmu lub jednostronnych uprzedzeń, że rozprawie Gersona należy się więcej niż kronikarska notatka. To też poświęcimy jej dłuższą i głębszą ocenę, — dziś tylko zapisujemy, że znakomity estetyk ubrał studyum swoje w formę przystępną a lśniącą i przemawia do nas językiem zapału i wielkiej miłości dla sztuki.

* * *

Znany warszawski tygodnik literacko-społeczno-polityczny „Głos“, który przed mniej więcej rokiem władze rosyjskie zamknęły, zacznie znowu wychodzić z dniem 1 października r. b. Redaktorem i wydawcą jest p. Tadeusz Strzembosz.

* * *

Polacy a prasa francuzka. Nie mija tydzień, by które z wielkich pism paryzkich nie umieściło artykułu, omawiającego nasze stosunki i objawy umysłowego ruchu. Przedewszystkiem ruchliwa „Revue des Revues“, odgadująca jutrzejsze upodobania swych czytelników, drukuje tłomaczenie Sienkiewicza i studyum o literaturze polskiej p. A. Krzyżanowskiej: „Figaro“ zamieszcza obszerny feljeton p. Poradowskiej „Vers Lemberg“, opiewający nieco Tissotowskim sposobem nadzwyczajne dziwy, które oglądać można, puściwszy się w dalekie te kraje, ale dowodzący, że autorka wyniosła z podróży swej wrażenie nader korzystne; „Correspondant“ podaje dziennik Fr. Krasińskiej, w tłomaczeniu baronowej Baulny, z czego biorą pohop „Debaty“, by podać charakterystykę autorki „Pamiętnika“ i polskiej kobiety wogóle; i znów „Figaro“ zapowiada mające się pojawić niebawem tłomaczenie „Połanieckich“ a w ślad za tą wiadomością umieszcza artykuł hr. Rzewuskiego o Sienkiewiczu, z którego szeroka publiczność francuzka dowiaduje się po raz pierwszy, jakiej miary pisarzem pochlubić się może współczesna nasza literatura.

* * *

Koleżeńska przysługa. Słynny powieściopisarz francuski Paweł Bourget wygłosił niezwykle zajmującą mowę w Akademii francuskiej w dniu oficyalnego swego wstąpienia w grono czterdziestu „nieśmiertelnych“.

Podług ceremoniału, przyjętego w Akademii, po mowie świeżo przyjętego kolegi przemawiał jeden z dawnych członków. Tym wydelegowanym był M. de Vogué, który nie bez ironii wychwalał utwory literackie Pawła Bourgeta, stawiając go wyżej, jako poetę, aniżeli jako psychologa. Do jakiej kategoryi powieściopisarzy mam zaliczyć Pawła Bourgeta? — pyta sam siebie de Vogué — Niewiem. Czyż jest on realistą?... Lecz naturaliści jednozgodnie temu zaprzeczą. Czyż jest idealistą?... Chyba nie, albowiem w każdej książce, w każdym opisie, czy to karczmy, czy kopalni, przez Emila Zolę, jest więcej idealizmu, aniżeli w buduarowych scenach, przepełniających powieści Pawła Bourgeta... Zaliczyć je chyba należy do gatunku utworów sentymentalnych... Lecz i tego pewien nie jestem! Cruelle énigme!...“ Na tych dwóch słowach, wyrzeczonych dwuznacznie, bo będących zarazem tytułem jednej z licznych powieści Pawła Bourgeta, mówca położył nacisk dość złośliwy i powtórzył je z komentarzem, iż to szczęśliwie stworzone wyrażenie jest w wielu razach przydatne i najniezawodniej ma przed sobą zapewnioną „nieśmiertelność“, albowiem zasługuje wejść w skład popularnych orzeczeń, dzięki swej ułudnej głębokości.

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne.** Stambułow zginął z ręki morderców 18 lipca b. r. — Cesarz niemiecki wybiera się do Rzymu. Dzienniki niemieckie przypisują tej podróży doniosłe polityczne znaczenie, wyrażając przypuszczenie, że chodzi tu o utrwalenie trójprzymierza. — Socyalistyczna komisya rolnicza ogłosiła już swój program i rezolucye, które na przyszłym zjeździe w Wrocławiu pójdą pod obrady. Program jest dość obszerny i obejmuje wielką liczbę punktów, z których podajemy tylko ważniejsze. Żądają zatem socyaliści zniesienia wszystkich przywilejów, przywiązanych do gruntu, a więc fideikomisów, patronatów i t. d., utrzymania i powiększenia publicznych gruntów i stawienia zarządu ich pod kontrolę reprezentacyi narodu; dalej, aby na gruntach państwowych rząd gospodarzył na własną rękę, lub wydzierżawiał je stowarzyszeniom włościan lub robotników wiejskich; aby udzielano kredytu państwowego stowarzyszeniom lub gminom na melioracye i t. d., aby państwo ponosiło koszta budowy dróg bitych i wodnych, aby upaństwowiono stowarzyszenia zabezpieczenia od ognia, gradu i t. d., aby państwo popierało osoby i gminy, dotknięte nieszczęściem, powodzią, gradem i t. p. Dalej żąda komisya zniesienia wszelkich podatków realnych, zakładania szkół uzupełniających i fachowych i obrony prawnej dla wszystkich robotników wiejskich. — Polski komitet wyborczy miasta Poznania ogłosił odezwę, wzywającą, aby przed wyborami komunalnemi każdy wyborca przekonał się dokładnie, czy nazwisko jego zapisane jest w listach. Listy wyłożone są w biurze podatkowem i przeglądać je można w godzinach biurowych. — Otrzymujemy dwie odezwy następujące:

I Odezwa.

Rodacy! Z powodu zlotu „Sokołów“ w Bydgoszczy w dniu 3 i 4 sierpnia 1895 r. odzywamy się niżej podpisani do Was, abyście, tak jak się to dzieje po innych grodach Księstwa naszego, byli łaskawi otworzyć drzwi domów Waszych, w celu przyjęcia „Sokołów“ na kwatery. Komuby było niedogodnem przyjąć druha na kwaterę, ten niech raczy złożyć choćby najmniejszy datek, aby przybyłych gości można odpowiednio umieścić. Jesteśmy przekonani, że obywatelstwo miasta naszego, znane z gościnności, i tym razem nie poskąpi swej ofiarności i przyczyni się do przyjęcia tak godnego gościa. Zgłoszenia i datki przyjmuje niżej podpisany wydział kwaterunkowy.

Witecki, ul. Szwecka nr. 5. Wierzchaczewski, Waidmannsruh K. Figurski, kupiec, ulica Gdańska 71. Figurski, ogrodowy, ul. Zamkowa 10. Gałecki F., Schleusenau nr. 17. Sosnowski, ul. Dworcowa 81. Borsychowski, Wörthstrasse nr. 5. Tomaszewski, ul. Fryderykowska 32.

Bydgoszcz, 13 lipca 1895.

II Odezwa.

We wycieczce Galicyan do Poznania wezmą udział także i panie. Wobec tego, że wiadomość ta ogłoszona jest tak późno, iż nie pozostaje dość czasu na to, aby cały ogół pań poznańskich wspólnie się porozumiał co do współuczestnictwa w przyjęciu tych miłych nam gości, wydział „Czytelni dla Kobiet“ zanosi uprzejmą prośbę, ażeby panie nasze wzięły udział w serdecznem przyjęciu sióstr z Galicyi. Zamierzamy stawić się jak najliczniej na dworcu w niedzielę o godzinie pół do dziesiątej, a następnie towarzyszyć przybyłym Galicyankom we wycieczkach i zabawach przez program odnośnego komitetu oznaczonych.

Wydział „Czytelni dla Kobiet“ w Poznaniu.

*** Teatr i muzyka.** Artyści poznańscy wrócili z prowincyi do miasta naszego, aby w dniu przybycia gości galicyjskich odegrać czteroaktową komedyę „Kraj“. — Helena Modrzejewska ukończyła występy swoje na scenie lwowskiej i udaje się do Ameryki. — Słynna sztuka Halbego p. t. „Die Jugend“ zyskała w niemieckim teatrze w Pradze wielkie powodzenie. — Znany publiczności poznańskiej artysta krakowski pan Siemaszko wystąpi gościnnie na warszawskiej scenie — Najbliższą premierą teatrzyku „Nowości“ w Warszawie będzie farsa z angielskiego p. t. „Niobe“. — „Cyganerya“ Murgera w przeróbce K. Zalewskiego zyskała uznanie warszawskiej publiczności i krytyki. — Barcewicz wyjechał w towarzystwie śpiewaczki p. Dylewskiej na gościnne występy do wód galicyjskich.

Zmarli:

* **Zupitza**, prof. literatury i języka angielskiego przy uniwersytecie berlińskim, zm. 7 b. m rażony apopleksyą.

* **Stambułow**, najżarliwszy obrońca niezawisłości Bułgaryi, zm. 18 lipca b. r. w Zofii.

* **August Reichensperger**, znakomity szermierz katolicyzmu i swobód konstytucyjnych w Niemczech, zm. 16 lipca b. r.

* **Dr. Józef Stummer**, lekarz warszawski, autor licznych rozpraw z dziedziny medycyny, zm. 8 lipca b. r. w Warszawie.

Odpowiedzi Redakcyi.

Kr. Z prywatnej waśni sprawy publicznej robić nie możemy. Nie zamieścimy zatem listu nadesłanego.

Ks. proboszcz N. N. 30. Dziękujemy za słowa zachęty w bezustannej walce i zapewniamy, że przytoczone słowa św. Franciszka Salezego: „La vérité qui n'est pas charitable, procède d'une charité, qui n'est pas véritable“ są i pozostaną drogoskazem naszym. Twierdzenia, że wiadome aspiracye hegemoniczne zrodziły się na poznańskim bruku wśród kilku reprezentantów młodszego duchowieństwa, lecz starszej generacyi obce są zupełnie, nie odmawiamy pewnej słuszności, lękamy się jednak, że Poznań stanie się rozsadnikiem tych dążeń.

Karolowi R. Dokładnych informacyi udzieli chętnie prof. Rakowicz, Poznań, ul. Bismarka.

Składki

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki

złożono:

Za pośrednictwem p. H. D. ze Środy za używanie niemieckich wyrażeń w polskiej rozmowie 10 marek.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 531,20 m.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 30. Poznań, Niedziela 28. lipca 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

W sprawie konkursu na dzieło o Karolu Marcinkowskim.

W wrześniu ubiegłego roku otworzyliśmy rubrykę składek na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim. Myśl tę zapoczątkował p. Niesiołowski z Szarleja, proszac redakcyę naszą o poparcie i składając równocześnie poważniejszą sumę na cel konkursowy. Starał się ofiarodawca już od lat kilku zainteresować społeczeństwo budową literackiego pomnika dla jednego z największych, jeżeli nie największego męża, którego Wielkopolska w bieżącym stuleciu wydała, ale gdzie tylko zapukał, odpowiadało mu głuche milczenie lub głos zirytowany: „Gospodarz śpi i przyjąć nie może“. Tak mówiły redakcye, tak zatykały uszy wpływowe osobistości Księstwa i Prus, a mimo to inicyator planu konkursowego nie zraził się apatyą społeczeństwa i powtarzał stale swoje „*Caeterum censeo*“.

Do nas myśl p. Niesiołowskiego sympatycznym przemówiła dźwiękiem, i lubo nie łudziliśmy się ani chwili, by głos młodego, bo zaledwie pół roku życia liczącego i dla swojej postępowo-demokratycznej barwy wśród gerontów społeczeństwa niechętnie widzianego pisma, od razu spopularyzować mógł ideę konkursu, to jednak przypuszczaliśmy, że myśl pozbawiona wszelkiej politycznej przymieszki i służąca uczciwie celom hmanitarnym, znajdzie choć słabe echo w prasie polskiej pruskiego zaboru. A jednak my, którym bezustannie pod nogi rzucają zdawkową deklamacyę o zgorzkniałym pesymiźmie, przeceniliśmy naszych kolegów po piórze! Z wyjątkiem „Gońca Wielkopolskiego“, który zamieścił krótką notatkę o zapoczątkowaniu składek konkursowych, wszystkie pisma polskie przywitały ideę naszą kamiennem milczeniem, — jeden „Orędownik“ przemówił: gromem na konkurs i jego inicyatora.

W takich warunkach, niepopierani przez nikogo, rozpoczęliśmy gromadzenie funduszu konkursowego, a rzecz oczywista, że w otoczeniu widocznej niechęci dziennikarstwa rozmiary jego wzrastały w tempie nader powolnem. Do preliminowanej sumy 1000 marek zbliżaliśmy się krokiem urywanym i ciężkim, i to, co w innych okolicznościach stałoby się faktem dokonanym na przestrzeni jednego lub dwóch miesięcy, pozostało mimo całorocznych starań nieziszczonem życzeniem wśród zawistnej ciszy. W takiej chwili odzywa się znowu autor idei konkursowej, p. Niesiołowski z Szarleja, i pragnąc gorąco, aby budowa literackiego pomnika rozpoczęła się w najkrótszym czasie, zobowiązuje się piśmiennie zebrany dotychczas fundusz 746 marek uzupełnić do wysokości sumy preliminowanej (1000 marek), gdyby w przeciągu roku nie znalazł się w drodze składek kapitał potrzebny. Dzięki zatem ponownej subwencyi pierwszego inicyatora konkursu stoimy u celu dążeń naszych i przystąpimy niebawem do ogłoszenia warunków literackiego wyścigu.

Dziś poczuwamy się do obowiązku wyrazić na tem miejscu publiczne podziękowanie dla p. Niesiołowskiego i wszystkich tych ofiarodawców, którzy groszem swoim przyczynili się do położenia materyalnej podstawy dla zamierzonego dzieła, a czynimy to w głębokiem przekonaniu, że konkurs wzbogaci piśmiennictwo poznańskie nie jedną lecz kilku poważnemi pracami i powoła do życia najpiękniejszy pomnik, jaki dla męża tej miary, co Karol Marcinkowski, zbudować może społeczeństwo. W literaturze polskiej dotkliwie uczuć się dawał brak historyi W. Ks. Poznańskiego w okresie pierwszej połowy bieżącego stulecia. Pojawiło się wprawdzie na półkach księgarskich i w odcinkach dzienników naszych kilka pamiętników historycznych, ale w chaosie luźnych notat i pobieżnych zapisków rozpływał się obraz społeczeństwa, jego dążeń i prądów, pozostawiając w umyśle czytelników tylko wspomnienie oderwanych, a często tendencyjnie zabarwionych faktów i wydarzeń. Potrzebę historycznego poglądu na ewolucyę W. Ks. Poznańskiego w pierwszej połowie bieżącego wieku wyrażono niejednokrotnie w czasopismach naszych, a jeżeli głos ten pozostawał bez echa, to przyczyny szukać należy częścią w braku poważnych sił naukowych na poznańskim gruncie, częścią w braku dokładnych monografii, stanowiących materyał do obszernej i wyczerpującej pracy historycznej. O ludziach, którzy przed rokiem 48 kierowali społeczeństwem naszem, o Mielżyńskim, Libelcie i największym z wszystkich Karolu Marcinkowskim, literatura skąpych tylko udziela wiadomości, a monografii na szersze obliczonych rozmiary nie posiada wcale. Wszystkie te postacie giną w mgłach mętnej tradycyi, rozpływają się w potopie drobnych i oderwanych faktów, przechodzą w zapomnienie wraz z ludźmi, którzy na ich dążenia i walki własnemi patrzeli oczyma. A przecież była to epoka wielkiej ewolucyi w społeczeństwie, była to epoka, w której pojawiły się pierwsze dążenia budowania przyszłości na podstawach nowych, więcej realnych, choć dalekich od jednostronnego utylitaryzmu i oportunizmu dyplomacyi dzisiejszej. W dziejach tej walki, która się skończyła chwilowem rozbiciem dążeń organicznych, a znacznie później w odmiennej formie powtórzyła na gruncie warszawskim i galicyjskim, postać Karola Marcinkowskiego stoi jak olbrzymi słup światła, roztaczający promienie swoje wokoło, jak potężne wcielenie wielkiej energii, i wielkiej miłości, jak kolumna, o którą przez lat kilkanaście opierało się całe społeczeństwo poznańskie, jak Opatrzność ludu, szukającego po ciemku drogi zbawienia.

Takiemu olbrzymowi ducha i czynu należy się więcej, niż pomnik z marmuru lub spiżu, — należy się w pierwszym rzędzie pomnik literacki, streszczający nietylko dzieje człowieka, lecz dzieje instytucyi, które z ramienia jego powstały, charakter ludzi, z któremi żył, pracował i walczył, barwę epoki, na której piętno wycisnął. Kładziemy zatem kamień węgielny, wzywając ludzi nauki i wiedzy, by rozpoczęli budowę.



Obrachunki polityczne.

(I. Rosya wobec Polski).

(Dokończenie.)

Publicyści rosyjscy czujną opieką otaczają tryumfy samowoli w Polsce, dając poklask każdemu nowemu bezprawiu i zachęcając do dalszej gorliwości w tym kierunku. Im się zdaje, że każdy ich artykuł wbija gwoździk do trumny Polski, a przysparza cegiełkę do ruszczyzny. Pierwsze *może być* prawdą, drugie jest *złudzeniem*, bo tą polityką sprowadzają klęskę na własną ojczyznę.

Niebezpieczeństwo na wypadek wojny może grozić Rosyi tylko na terytoryum ziem polskich. Tam bowiem stosunki nie uregulowane, ludność zrozpaczona ciągłemi prześladowaniami. Rosyanie w poczuciu swej potęgi na fakt ten nie zwracają uwagi, dla nich Polska jest tak mała, że z nią liczyć się nie potrzeba. Paul Martin w dziele „Francais et Russes“ przekonywa rodaków, że przymierze z Rosyą nie jest korzystne z powodu militarnej słabości północnego kolosu. Słabość zaś jego wynika głównie z trudności i nienormalności warunków mobilizacyjnych. Napełniać kadrów Polakami i posyłać ich na pierwszy ogień, szczególniej przeciw

Austryi, nie zechce, — sprowadzanie zaś żołnierzy z prowincyi dalekich, a odsyłanie Polaków do pułków formujących się na wschodzie, rzecz kłopotliwa i w zamęcie wojny niezmiernie trudna. Strategicy rosyjscy trudność tę rozumieją i ztąd takie nadzwyczajne nagromadzenie wojska na terytoryum Królestwa Polskiego. Brak rezerwy na miejscu i powolność mobilizacyi mają być zrównoważone przewagą liczebną nad sąsiadami. W tej manipulacyi daje się uczuć wielki brak kadrów tak na wschodzie jak na zachodzie. Jenerał Hurko z tych właśnie względów wpakował miliony w budowę fortec.

Słowiańskość i Słowiańszczyzna były zbyt wiele razy i zbyt ważnym atutem w grze Rosyi i zawsze jeszcze nim być mogą, aby ich się miała wyrzec dla jednego niepowodzenia. Cała polityka Rosyi przez wiele lat dziesiątków w tę stronę się kierowała. Polska, a właściwie stosunek do Polski byłby musiał być przeszkodą w polityce słowiańskiej Rosyi, — Polska jest nieobecną w koncercie mocarstw europejskich, siłą w razie jakiegoś starcia narodów prawdopodobnie nie będzie, ale gdy chodzi o wpływ wśród Słowian, Polacy, jako sprzymierzeńcy, mogą okazać wielką pomoc, a jako ofiara samowoli mogą być bardzo szkodliwi.

Słowem, jeżeli Rosyi wypadnie zmierzyć się z zachodem, posiadanie Polaków po swojej stronie tylko jej przydać się może, uwolni ją od wielu niedogodności, a w razie potrzeby stanie się poważnym orężem w walce, a w każdym razie wytrąci z ręki nieprzyjacielowi broń, na którą ten silnie rachuje. Wojna to wielkie nieszczęście, po niej zostają tylko zgliszcza i ruina, ludność wojny żądać może chyba z rozpaczy, gdy ucisk przebierze zupełnie miarę. Polacy, jeżeli tylko warunki ich bytu ulegną zmianie, bronić będą pokoju wszelkiemi siłami, bronić go będą w Rosyi, w Austryi i Berlinie.

Pojednani z jednej strony z Austryą przez Galicyę, z drugiej z Rosyą, Polacy nie zechcą wojny i niepewnych jej skutków, pojednanie zaś Rosyi z Austryą pozbawi Prusy sojusznika, przez co i z niemi stosunki pokojowe staną się łatwiejsze. Oczywistą też jest rzeczą, że dla Rosyi, dla dynastyi o wiele przyjemniejsze będzie przymierze z monarchami, niż słuchanie w Petersburgu dźwięków marsylianki.

Dzisiejsze usposobienie i dzisiejsze stosunki w Galicyi są dowodem pośrednim wprawdzie, ale silnym, że porozumienie się Rosyi z Polską jest możliwe. W Rosyi przestworu dosyć, — ludzie miejsca sobie nie zajmują, zabraknąć raczej może rąk niż pola do pracy. Rosya jest w stanie dać Polsce bez żadnej ujmy dla siebie wyborne warunki ekonomicznego rozwoju. Gdyby Rosya zmieniła politykę względem Polaków, to pierwszy spotężniała, a Polska wzmogłaby się na siłach. Wiedzą o tem sąsiedzi i prowokują prześladowanie ze strony Rosyi. Urzędowy historyk cesarstwa Hohenzollernów, Liebel, świadczy, jak wielki niepokój panował w Berlinie, gdy Wielopolski w czyn wprowadził politykę ugodową, jednać usiłował Polaków dla interesu Rosyi i jakich starań użyto, aby dzieło wielkiego męża zburzyć. Zmiana postępowania rządu rosyjskiego w Polsce, wprowadzając wzajemne stosunki na inne tory, ubezwładniły fatalne dla obu narodów słowiańskich machinacye Niemców.

Pokolenie Rosyan z roku 1863 udziału w rozbiorach nie brało, ziemie polskie dostali w spadku po dziadach. Usposobienie Rosyan względem Polaków było w początkach panowania Aleksandra II jak najlepsze, otaczano nas zaufaniem; — Rosya przebywała wtedy epokę wielkich nadziei, w imię tych nadziei obudzono w sobie sympatye polskie, widząc w nich niejako sprzymierzeńców na nowej drodze państwowego życia.

Powstanie nasze było pierwszym zawodem, pierwszą skazą na gmachu nadziei. Ono spaczyło reformy, a może nawet je powstrzymało, dało, jeśli nie przewagę, to siłę żywiołom wstecznym. Dla wewnętrznego rozwoju Rosyi powstanie polskie było dotkliwym ciosem. Rosyanie przez nienawiść nie chcieli uznać pobudek, dążeń i stanu psychicznego Polaków. Wobec ustępstw, zrobionych w r. 1861 i 1862 uważali Rosyanie powstanie nasze za objaw niewdzięczności politycznego bezcelowego warcholstwa. Nie chcieli zrozumieć, że historya narzuca obowiązki, które spełnione być powinny, które spełnione być muszą.

Zrzec się bytu niepodległego od razu, dobrowolnie, bez wyczerpania wszelkich środków i sposobów, mógłby tylko naród w ostatniem stadyum moralnego rozkładu. Nie ma narodu, któryby się o wskrzeszenie ojczyzny nie porwał przynajmniej dwa razy, choćby bez nadziei zwycięztwa.. Walki o niepodległość przez naukę i poezyę uznane zostały bez protestu za najszczytniejsze momenty dziejowe, za objaw wielkiego znaczenia cywilizacyjnego. Rosya ma w swoich dziejach takie momenta, wie, co one znaczą, umie je święcić, a jednocześnie powstania polskie, które niczem innem nie były, uważa za zbrodnię. O nowej erze życia politycznego marzono we Francyi, w Niemczech, w Rosyi. Czemże innem, jeżeli nie marzycielem, był Aleksander Herzen, którego czytano z formalnem upojeniem? Marzenia Włochów, bardzo podobne do naszych, świeżo się były wtenczas ziściły.

Powstanie było błędem politycznym, który się powtórzyć nie powinien, było prawdziwą klęską, było nieszczęściem olbrzymiem, ale stan psychiczny społeczeństwa polskiego w owej chwili każdy uznać powinien za zrozumiały i dający się usprawiedliwić.

Dziś nikt łudzić się nie zechce, iż pięściami zdobyć można karabiny, a karabinami armaty, nawet skrajne żywioły nie wierzą, aby można wygrać wojnę z Rosyą.

W chłopie polskim pokładają złudne nadzieje z jednej strony państwowi propagatorzy ruszczyzny, z drugiej strony nasi rewolucyoniści. Pierwszym się zdaje, że popierając jego interesy i niesłuszne zatargi w stosunku z dworem, schlebiając jego chciwości, pozyskają go dla państwa i narodu rosyjskiego, drudzy wierzą święcie, że lada dnia na głos ich wstaną masy chłopskie, zabrzęczą kosy... I jedni i drudzy są w błędzie.

Chłop przywiązany jest do języka, do ziemi, do wiary, a jeżeli nie ma zupełnej świadomości *swego ja narodowego*, to owo gwałtowne i szorstkie ciągnięcie go ku ruszczyźnie, robienie zeń ślepego narzędzia celów państwowych, wywołuje w nim pierwsze błyski świadomości. Jeszcze więcej do rozbudzenia ducha narodowego przyczyniają się szykany w gminie, szkole i kościele.

Jest wręcz przeciwnie, niż mniemają w Rosyi; do jakiegoś ruchu zbrojnego może tylko doprowadzić dzisiejsza polityka, jeżeli rozwijając się w dotychczasowem tempie, dojdzie do ostatecznego kresu. Odwrotnie ustępstwa polityczne i narodowe, zapewnienie istotnej opieki państwowej dla społecznej pracy naszej wytworzyćby musiało spokój i obudzić chęć utrzymania pomyślnych stosunków.

Od roku 1863 wieleśmy się nauczyli.

Trzeba zaślepienia naszych rewolucyonistów, aby twierdzić, że w atmosferze ucisku duch piękniej rozkwita i potężnieje. Ucisk tylko upadla, cnoty narodowe trwają nieraz podczas katuszy najstraszliwszych, ale to nie wskutek ucisku, lecz dzięki potędze sił wewnętrznych narodu. Czołgać się musimy i kłamać. Nie mamy szkół, tylko warsztaty polityczne, gdzie wszystko zionie nienawiścią do naszej przeszłości, teraźniejszości, przyszłości, gdzie usiłują polskie dzieci przerabiać na Rosyan. Nie mamy opinii, nie mamy warunków pracy, nie mamy sprawiedliwości, dążą do tego, aby nas wytępić i zdeprawować.

Polakom i dziś wolno robić karyerę w dalszych częściach państwa, ale niechętnie i tylko z konieczności opuszczają kraj rodzinny, ci jednak, którzy iść muszą, szczerze poświęcają swoją wiedzę, talent i pracę społeczeństwu nie-

---

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

— Mogę tylko pochwalić się tym przymiotem, nie najgorszy on z pośród tych, jakie człowiek posiąść może. *Tout comprendre c'est tout pardonner!* — w słowach tych więcej mieści się prawdy, niż sądzą zazwyczaj. A wracając do naszej sprawy, sądzę, że nie ma nieszczęścia: byłoby w tym tylko wypadku, gdyby Nörgaard dowiedział się, od kogo list pochodzi, a nie ma on o tem pojęcia.

— Zapewnie bezimiennie listu tego nie napisałaś? — spytał doktór.

Engelke zaprzeczyła głową.

— Nie, — odrzekła.

— Naturalnie!

— Ależ to się rozumie samo przez się! — wykrzyknął zniecierpliwiony Bergström — niktby inaczej nie postąpił. Zachodzi teraz tylko pytanie, czy Nörgaard dostał list ten do rąk, czy też go nie dostał. Jeżeli go nie widział, co prawdopodobniejsze, to nic się nie stało.

— A dla czegoż miałby listu nie widzieć? spytał gniewnie doktór.

— Wnoszę to chociażby z tego, że od tygodnia jest już w mieście i nie daje znaku życia. O ile go znam, nie oszczędziłby nas, gdyby coś miał w ręku,

— Ale cała właśnie rzecz w tem, że go nie znasz, mój drogi! rzekł z niechęcią doktór. Milczenie jego niczego nie dowodzi jeszcze. Gdyby mi ktoś powiedział, że siedzi on teraz w domu i obmyśla plan zemsty przeciwko nam, nie byłbym zdziwiony. Przeciwnie, nie ma on najmniejszego powodu być dla nas szczególnie życzliwie usposobionym. Nie zapomnij, jak postąpiliśmy z nim nielojalnie; Engelke prawie od dzieciństwa była z nim po słowie jakby, może ją kochał nawet, kto wie... naraz odwraca się zupełnie od niego, by tobie rzucić się w ramiona. Możesz być przekonanym, że nie omieszka on skorzystać teraz ze sposobności, by się zemścić!...

— Ależ ojcze, mówisz, jakby on na pewno już o tem wiedział.

— Mam wszelkie dane, aby przypuszczać najgorcze... a teraz u licha... zupełnie w jego jestem szponach!

Gorączkowo przebiegać począł tam i napowrót.

Wreszcie zatrzymał się przed Engelką, która spokojnie, z oczyma spuszczonemi siedziała.

— Mój Boże! a ja cię tak prosiłem, głupstw tych nie robić!

Engelke spojrzała zdziwiona na ojca.

— Bardzo cię prosiłem; najwyraźniej powiedziałem, że przykroby mi było, gdyby ktoś z moich list taki napisał; przypominasz sobie? Doniesienie takie zupełnie byłoby słusznem i na miejscu, gdyby od kogo innego wyszło. My za nadto związani jesteśmy stosunkami z Nörgaardem, ażeby coś podobnego uczynić: uważanoby to za zemstę, zemstę osobistą, małostkową. Ale ty, czy pomyślałaś o tem? rozumie się, że nie! Chciałaś tylko swej własnej dogodzić próżności i własne myśli wykonać! A że przytem swoich najbliższych na wielkie narażasz przykrości, to ci obojętne, jeżeli tylko gniew swój ku temu człowiekowi nasycić mogłaś do woli! Brzydko postąpiłaś, nigdybym się tego po tobie nie był spodziewał, Engelko!

Na ustach Bergströma pojawił się uśmiech ironiczny.

— Co do mnie — rzekł — nie miej wyrzutów sumienia. Nörgaarda się nie obawiam, a jego możliwe prześladowania zniosę ze stoicyzmem i rezygnacyą.

— No, zapewne, cóż o tobie mówić? Nie jesteś niczem więcej, jak dowcipnisiem, który potrafi tylko ośmieszać ludzkie braki i wady. Ciebie nikt nie bierze na seryo. Co innego ja...

— Kassander! mruknął Bergström.

przyjaznemu sobie i swoim. Odznaczają się szczytnie na wielu stanowiskach, a świeżo pisma rosyjskie przytoczyły chlubne świadectwo, dane przez jenerała Sinielnikowa kilku tysiącom zesłańców za rok 1863. Ciężko pracując fizycznie przy budowie kolei, potrafili wzbudzić dla siebie uznanie, szacunek i współczucie, a przykładem swoim wywierali zbawienny wpływ na ludność miejscową.

Całą argumentacyę powyższą — mówi w końcu autor — oddajmy pod sąd czytelnika polskiego, bo jest rzeczą nader ważną *dla nas samych*, aby nabrać przeświadczenia, że stosunki dzisiejsze, jako nie dające się uzasadnić racyonalnie ze stanowiska państwowych interesów rosyjskich, długo trwać nie mogą. Sprawa polska będzie niewątpliwie często jeszcze przedmiotem narad i sporów. Głos nasz przez Rosyan prawdopodobnie nawet usłyszanym nie zostanie, to jednak nie czyni go bezużytecznym. Niewątpliwie bardzo a bardzo ważną jest rzeczą, aby oni poznali i zrozumieli istotny stan rzeczy, ale za sprawę o wiele jeszcze ważniejszą i pilniejszą uważamy wyświetlenie sytuacyi dla nas samych i porozumienie się w najważniejszych dla nas zagadnieniach społecznych. Przywrócenie praw politycznych i narodowych żywiołowi polskiemu wobec tego, że nie widzi on dziś możności oderwania się od Rosyi, mogłoby ostatniej przynieść tylko korzyści, wytworzyłoby bowiem poczucie solidarności z tem państwem, jak się to stało w Galicyi. Prędzej czy później wzniosą się publicyści rosyjscy ponad dotychczasowe swe stanowisko względem Polski, a skoro się tylko ukaże na horyzoncie życia politycznego Rosyi jeden mąż stanu wyższego polotu wśród doradców młodego monarchy, widocznie obdarzonego od natury szlachetnemi i humanitarnemi popędami, wtedy bezcelowa i szkodliwa polityka, oparta na usunięciu *z pod prawa* milionów obywateli, upadnie.

Na tem kończy się broszura publicysty warszawskiego, ale zdaje się podług liczby I, umieszczonej pod tytułem i szczególnego uwzględnienia stosunków zaboru rosyjskiego, że jest to dopiero część pierwsza obszerniejszej pracy i że wszystkie trzy rządy zaborcze znajdą w książkach tych należytą ocenę. Z ciekawością oczekujemy dalszego ciągu. *X.*

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„Dziennik Kujawski“ poświęca w numerze 160 artykuł pełen uznania bydgoskim „Sokołom“ z powodu zlotu zapowiedzianego na dzień 3 i 4 sierpnia. Z artykułu tego wyjmujemy ustęp następujący:

„Wśród zalewu obcego żywiołu i uprzedzonych do sokolstwa niektórych rodaków, „Sokół“ bydgoski nietylko, że nie upada, lecz owszem wzmaga się w siłę. Karność, łączność i zamiłowanie do gimnastyki to kardynalne zalety Sokołów z nad Brdy. Słusznie też upowszechniło się pomiędzy sokolstwem wielkopolskiem zdanie, że druhowie bydgoscy to nie Sokoły od parady, nie panicze z wybladłem licem i z chwiejnym krokiem, lecz to całem słowem gimnastycy o silnych mięśniach i harcie duszy. Miło widzieć u nich taką świadomość celu należenia do „Sokoła“; na ogólną liczbę członków trzy czwarte jest ćwiczących, a pomiędzy niemi spora ilość w pełnym wieku. Nie dziw więc, że grono takich ludzi zamiast się zniechęcać przeciwnościami, świeci żelazną wytrwałością, tak rzadką u Polaków, w raz obranym kierunku swych dążności.

Na uroczystości tej będzie poświęcony nowy sztandar; będzie to niejako uwieńczenie pracy dziesięcioletniej.

To dar od patryotycznych Polek bydgoskich. Śliczną tę chorągiew o barwie kujawskiej (żółto-czerwonej) zdobić będzie z jednej strony obraz Matki Boskiej Częstochowskiej oraz herb miasta Bydgoszczy, a na szczycie chorągwi sokół srebrnopióry Chcieli Bydgoszczanie mieć chorągiew w kolorach swego grodu, lecz niestety kolor ten jest — czerwono biały. Wiemy wszyscy, jakim wyrzutem sumienia jest ta barwa dla naszych najserdeczniejszych, dla tego zabroniono tego koloru“.

W sprawie „Związku Towarzystw przemysłowych“ takie wypowiada opinie „Goniec Wielkopolski“:

„Są i dzisiaj jeszcze małe różnice w zapatrywaniach o znaczeniu Związku, ale w tem panuje zgoda, że komisaryaty. wydziały i patronaty, mianowicie z ludzi niefachowych złożone, nie będą nigdy dźwignią przemysłu, i że na tem polu reforma była konieczną,

„Nawet tacy delegaci, którym pewne sfery włożyły do kieszeni mandat głosowania contra Związkowi, ocknęli się w ostatniej chwili, przejrzeli i byli za chwalebną uchwałą mimo przeszkód, jakie im stawiano.

„Kto wspomni na to, że jeszcze przed trzema laty 4 Towarzystwa (Tow. Przem. w Poznaniu, Miłosławiu, Koźminie i Krotoszynie) oświadczyły się za Związkiem, ten z radością ogląda rezultat ostatniego Zjazdu; kto przypomni sobie, jak przed trzema laty ks. Stychel śmiałemi kroki dążył do opanowania całego ruchu przemysłowego pod zaborem pruskim, jak gwałcił, politykował, majoryzował, jak sprzeniewierzał się mandatowi, danemu mu przez komitet 33, ten po przebiegu obrad ostniego Zjazdu przyznać musi, że przemysł nasz wyemancypował się już z pod protekcyi lekarzy, adwokatów, księży i redaktorów. Podniósł to należycie pan mecenas Moczyński z Bydgoszczy i wielką mu przyznajemy racyę.

„A teraz przypatrzmy się Zjazdowi z innego stanowiska — skontrolujemy udział duchowieństwa.

„Najzaciętszego przeciwnika Związku, ks. penit. Stychla nie widzieliśmy wcale. Ani jeden duchowny nie miał wykładu, odczytu, nauki; literalnie ani jeden nie oświadczył się szczerze za związkiem, ani jeden nie poparł go w czasie dyskusyi. W sekcyi organizacyjnej przemawiali jedynie ks. patron Wawrzyniak i ks. Kłos z Poznania. Pierwszy oświadczył się osobiście za Związkiem, ale go sobie nie życzył — drugi był stanowczym oponentem, obawiając się skoku, jakiby Towarzystwa przemysłowe zrobiły, przyjmując projekt Związku.

„Skok“ jest, a kto nie chciał skakać, ten pozostał w tyle i przepadł.

„Pocieszającym jest objaw, że kiedy przed trzema laty projekt Związku miał tylko kilku gorliwych obrońców i przedstawicieli, to dzisiaj już cała falanga mówców przy nim obstawała, pocieszającym jest fakt, że kiedy dawniej 4 Towarzystwa dążyły do jedności, to dzisiaj ich blisko 40 uznało potrzebę emancypacyi i centralizacyi.

„Jest to na nasze stosunki rozwój ogromny, którego żadna krytyka zaprzeczyć nie zdoła.

„Wielką zasługę ma przy dokonaniu dzieła także dziennikarstwo, reprezentujące koła przemysłowe: w tem, że nie wszczęło przed Zjazdem kłótni i zwady, ani też dyskusyi nad projektem Związku.

„Byłoby to zbudziło opozycyę, która, spoczywając na smutnych laurach przedostatniego Zjazdu, myślała, że mieszczaństwo przemysłowe i rękodzielnicze da się wodzić na pasku“.

Do wywodów powyższych nawiązuje „Orędownik“ w nr. 164 następujące uwagi:

„W artykule, któryśmy wczoraj z „Gońca“ powtórzyli, jest także wyrażona obawa przed niepokojącemi wpływami niektórych księży nie tyle na rozwój, ile na dalszy kierunek naszych Towarzystw Przemysłowych.

Ks. patron Wawrzyniak pocieszał się wprawdzie tem, że Zjazd kapłan zagaił i kapłan zakończył, ale za to „Goniec“ podnosi, że ani jeden ksiądz nie miał wykładu, odczytu, nauki i że najzaciętszy przeciwnik Związku, ks. penitencyasz Stychel wcale się nie pojawił na Zjeździe.

Jest faktem, że ks. Stychel pierwszy zaczął okazywać niezadowolenie z dotychczasowej organizacyi Towarzystw naszych, licznej, ale swobodnej, i dla tego pełnej życia i przez Zjazdy dostatecznie oddziałującej na ogół Towarzystw. Pierwszy zaczął strugać drzewo, by zbudować Związek — organizacyę z jednolitemi ustawami i jednolitym programem; za jego też staraniem powstała ta rozlazła organizacya, zlepiona z zjazdów prezesów, Wydziału, z których niektórzy członkowie wracali — prawie na śmierć zamęczeni — dyskusyą po części młócącą słomę już wymłóconą. Ludzie, którzy się tej ciesiółce ks penitencyarza Stychla bliżej przypatrywali, powtarzali jeden do drugiego: on nie buduje Związku, tylko klatkę dla Towarzystw Przemysłowych. Nie wątpimy, że był czas, kiedy ks. penit. Stychel całą duszą był oddany sprawie Towarzystw, ale jego udział w Redakcyi „Kuryera“, jego zachowanie się wobec dr. Szymańskiego w Tow. kat. Rzemieślników polskich otworzyło oczy szerokim kołom i uprzytomniło, czego się w danym razie mogą spodziewać Towarzystwa po jego Związku. Dni wpływów ks. penit. Stychla były policzone; cofnął się sam od roku z Wydziału, ze wszystkiego, nawet na Zjazd nie przyszedł.

„Goniec“ ma racyę, gdy zwraca uwagę na niknący wpływ duchowieństwa. Jak na polu politycznem przy walce ruchu ludowego z partyą dworską, tak przy tych powstających dopiero sporach około Związku Tow. — księża płacą koszta i tracą. To nie nasze zdanie, to zdanie, które dość ogólnie na Zjeździe powtarzano. Nawet tak dzielny kapłan, jak ks. prałat Goebel z Kruświcy, dla którego wszyscy mają jedno uznanie, który jako naczelnik wydziału okazał wiele praktycznej mądrości, nie uratuje niknącego wpływu duchowieństwa

---

— Jestem człowiekiem, na którego oczy wszystkich są zwrócone — mówił dalej, zdając się nie słyszeć uwagi Bergströma.

— Znowu począł chodzić po pokoju. Nagle zatrzymał się przed Bergströmem.

— W końcu to wszystko okaże się kłamstwem! — zawołał.

— Co mianowicie?

— No, cała ta historya uwiedzenia dziewczyny i to wszystko!...

Bergström niecierpliwym ruchem ręki zaprzeczył.

— Możesz być przekonanym, że tak jest, nie ma najmniejszej wątpliwości nawet.

— Lecz skądże o tem wiedzieć mogą? Czy masz jakie oczywiste dowody?

— Dowody, dowody! rozumie się, że je mam!

— Naprzykład?

— Ależ mówiłem już niezliczone razy o tem. Znam lekarza, który leczył tę kobietę; od niego samego to słyszałem. Nie rozumiem, dla czego my jeszcze o tem wszystkiem mówimy.

— Wybacz, lecz ja nie jestem jeszcze tak zupełnie o tem przekonany. A wiesz, co czyni całą tę historyę trochę wątpliwą? Oto to, że przyjaciel twój zdaje się nic o niej nie wiedzieć.

— Sądzisz, że powinienem mu był ją powtórzyć?

— Bynajmniej; przypuszczam jednak, że wszystkie skandale kopenhaskie dobrze mu są znane, dlaczegożby więc miał o tem nie wiedzieć? To trochę podejrzane.

— Wcale nie. Przedewszystkiem możebnem jest, że on zna tę historyę, chociaż ze mną o niej nie mówił, a zresztą, gdyby jej nie znał nawet, śmiesznem byłoby opierać się na tem, że on czegoś nie wie. Jeśli jednak myśl ta cię niepokoi, postaram się przedłożyć ci dowody, że sprawa ma się tak, jak powiedziałem. Mogę nawet przywlec tu dziecię z flaszeczką, z całym aparatem...

Engelke cały czas siedziała bez ruchu, z oczyma w mówiącego utkwionemi. Bergström ujął jej rękę i spojrzał na nią: była blada i wzruszona...

— Możesz być spokojną! — rzekł tonem żartobliwym.

Pauli mierzył pokój wielkiemi krokami; po chwili stanął naprzeciw swej córki i uśmiechając się ironicznie, uważnie przyglądać się jej począł.

— Mogę ci powinszować — rzekł — dokonałaś oczywiście czynu wielkiego na świecie w tak młodym wieku... Czyn piękny, muszę przyznać! Przy pomocy kilku pociągnięć pióra zniszczyć szczęście człowieka, — i żeby to jeszcze wszystko! — zburzyłaś przyszłość całą człowieka uczciwego może!...

Bergström zerwał się zniecierpliwiony.

— Powiedziałem *może*, to przecież m wolno!... Zniesławiałaś nazwisko jego oszczerstwem może!... Tak, to są wspomnienia, do których z przyjemnością się powraca, gdy się jest starym.... które dzieciom jako przykład naśladowania godny polecać można.

Engelke nie poruszyła się nawet. Bergström tym razem nic nie odpowiedział; zadowolnił się wzruszeniem ramion.

Nastało długie milczenie.

Bergström probował mówić o czem innem, lecz rozmowa nie szła jakoś. Wkrótce więc potem wstał i pożegnał doktora, obiecując dostarczyć nazajutrz bliższych informacyi.

Engelke odprowadziła go do przedpokoju, słabo oświetlonego lampą.

Ubrał się w milczeniu, ukradkiem na nią spoglądając. Stała blada, z oczyma w dół spuszczonemi, o ścianę oparta.

Zbliżył się do niej i uścisnął czule.

— Dobranoc, ty moja! — szepnął.

Lecz teraz nie mogła się dłużej powstrzymać: odwróciła głowę i cicho, gwałtowne łkanie wyrwało się z jej piersi, wstrząsające całem wątłem jej ciałem.

— Ależ, Engelko! — zawołał, obejmując ją ramieniem, lecz słowa nie mógł znaleźć, by ją uspokoić.

— O, ja się tak boję, tak strasznie się boję! — łkała. Oparłszy głowę o jego piersi, płakała rzewnie, rozpaczliwie.

Nie pomoże też nic umiarkowane i pojednawcze stanowisko, jakie starał się dla duchowieństwa zakreślić ks. patron Wawrzyniak, bo kto wie, czy na to nie będzie za późno. Księża, którym głównie, jeżeli nie wyłącznie, przed walką kulturną i podczas niej zawdzięczamy zbudowanie fundamentów pod dzisiejsze Towarzystwa, z czasem mogą stracić wszelkie wpływy na nie. Nie oni wprawdzie stworzyli tę sytuacyę, ale w taką sytuacyę faktycznie się dostali".

Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ partyi staroruskiej, lwowski „Hałyczanin" pisze o unii i jej znaczeniu:

„Jesteśmy szczerymi zwolennikami unii, ale tylko takiej, której dokonano na polu kościelnem i duchowem. Nie chcemy tej unii, która nas Rusinów wynaradawia i dąży do jednoczenia politycznego, identycznego z opolaczeniem. Rząd polski, jak tego uczy historya, kierowany ręką szlachecką i jezuicką, widział w unii cel polityczny i tak ją wyzyskiwał.

„Jedynie w celach politycznych Polska powołała do życia unią, która dla niej stała się zgubą, bo Polska upadła przez swą fałszywą wobec ludu ruskiego politykę. Niestety choć upadła, żyją dotychczas politycy polscy w kontuszach i czarnych kapeluszach, którzy dzieło prowadzą dalej. Niczego ich historya nie nauczyła, niczego nie zapomnieli, na kwestyę ruską swoich zapatrywań nie zmienili....

„Nadużycie unii doprowadziło do wojen kozackich. Wojny te tak silnie organizmem Polski wstrząsły, że upaść musiała....

„Twórcami unii z ruskiej strony byli Pocieja i Terlecki; z pewnością w ich intencyi nie leżały cele polityczne, nie myśleli o tem, że unia wyzyskaną zostanie w ten sposób, jak się to stało.

„My rocznicę unii święcić będziemy jako dzieło religijne, Polacy ją święcą jako akt polityczny..."

* * *

„Slovenski Narod", organ partyi młodosłowińskiej tak pisze o Stambułowie:

„Nie można bez odczekania na wyświetlenie powodów zbrodni dziś już posądzać Rosyi, że jej ręka działała w ukryciu, bo Stambułow miał wielu osobistych nieprzyjaciół.

„Kto zna życie i działalność Stambułowa, nie może się dziwić, iż miał wielu wrogów nieprzejednanych. Jego rządy odznaczały się okrucieństwami, on to przelał krew Panicy, jednego z najdzielniejszych synów Bułgaryi. Polityka nieprzychylna Rosyi nie podobała się Bułgarom, bo oni w niej widzieli oswobodzicielkę z pod jarzma tureckiego. Lud bułgarski uciskany w sposób barbarzyński przez Turków pogańskich, nie widział i nie oderwał niebezpieczeństwa, grożącego mu od chrześciańskiej i słowiańskiej Rosyi.

„Stambułow miał umysł bystry. Nikt mu nie może odmówić, iż wielkie położył około swej ojczyzny zasługi.

„On to był jednym z najenergiczniejszych agitatorów i organizatorów powstania przeciw Turkom. Młodym będąc, układał poezye, w których Bułgarów wzywał do walki przeciw odwiecznemu wrogowi.

„Był gorącym patryotą bułgarskim, separatystą słowiańskim.

„Jeżeli w tym kierunku nieraz poszedł za daleko, to winą było tych, którzy go podmawiali. Smutno, iż się nie poznał na tem, że polityka jego źle oddziaływała na wzajemność słowiańską.

„Dziś z pewnością morderstwo jego wyzyskają wrogowie Słowian, ażeby nas pozbawić sympatyi świata ucywilizowanego. Może to ujemnie wpłynąć, zwłaszcza na ruch macedoński...."

* * *

„Dnevni List", służący interesom partyi t. z. wielkoserbskiej, pisze o obecnych rządach w Serbii, zwracając się przeciw postępowcom:

„Jeżeli macie coś przeciw nam, nie karzcie za nas narodu serbskiego. Gdy cudzą obrożą ściśniecie nasze gardła zadławicie i siebie.

„Nam Austrya zamyka bezwzględnie granice dla wywozu, przecina arterye żywotne, a na to nic nie mówi Europa. Czemu nas materyalnie słabych nie bierze w obronę? Jeżeli nas umyślnie finansowo rujnują, jeżeli świadomie prowadzą do bankructwa, to i my bądźmy bezwzględnymi i nie poczuwajmy się do zobowiązań, które były po stronie obopólnej. Głównem źródłem zarobku był dla nas wywóz nierogacizny, tymczasem Austrya granice swoje zamknęła, wiedząc o tem, że fakt ten prowadzi nas do ruiny.

„Europa nie może nas zmusić, abyśmy jak dotąd czynili zadość zobowiązaniom, kiedy nie zmusza Austryi do otwarcia nam granic i patrzy z rękami założonemi, jak nas bezwzględność Austryi niszczy...."

* * *

Młodoczeskie „Narodni Listy" piszą z powodu wycieczki bułgarskiej do Pragi:

„Bułgarzy są najmłodszym szczepem słowiańskim z punktu widzenia odrodzenia się Słowiańszczyzny. Historycznie są najstarszym, bo od nich przejęliśmy chrześciaństwo, a z nami reszta Słowiańszczyzny, jak to zgodnie świadczą i historycy rosyjscy.

„Bułgarzy w nowszym czasie okazywali nam sympatye szczególne, setki Bułgarów studyowało na uniwersytecie pragskim, pracowali oni szczerze nad słowiańskim związkiem duchowym, a wielu Bułgarów połączyło się z Czeszkami węzłem rodzinnym.

„Nikt z Bułgarów, pomiędzy nami przebywających, nie zabrał ze sobą przykrych wspomnień, owszem zawsze spotykaliśmy się ze słowami uznania dla czeskiej serdeczności, jaką każdemu Słowianinowi okazujemy.

„Bułgarzy, którzy nasz kraj poznali, starali się o to, aby zaznajomić z Czechami ogół społeczeństwa bułgarskiego. Dzięki temu silniej został zadzierzgnięty węzeł, łączący dwa narody. Wycieczka bułgarska przyczyni się do wzmocnienia tego węzła i tym sposobem nasza wystawa etnograficzna spełni znowu to, co było jej celem."

D. K.



KSIĘGA KOBIET.

(„Das Buch der Frauen" p. Laurę Marholm.)

Wiek dziewiętnasty stanowi w położeniu i życiu kobiet epokę ważnego przełomu. — Pomiędzy wielu kwestyami, które wysunął on na forum publicznych debat, wiążąc się z niemi lub z nich wynikając pojawiła się na widowni sprawa równouprawnienia kobiety i zainteresowała niemało umysłów. Dzięki temu zmieniały się stopniowo poglądy na jej wychowanie, przeznaczenie, zdolności umysłowe i właściwości charakteru a wraz z tem położenie kobiety przechodziło różne fazy.

Równocześnie ze zmianą stosunków — musiały się naturalnie wytworzyć i wśród samych kobiet typy nowe, odpowiadające charakterowi naszej epoki. Ponieważ zaś, jak wspomnieliśmy wyżej, epoka ta ma charakter przejściowy, nic też dziwnego, że w postaciach współczesnych kobiet, — tych właśnie, które są przodowniczkami niewieściego ruchu lub najwybitniejszymi przedstawicielkami kobiecego świata, zauważyć można pewnego rodzaju połowiczność i znamiona rozstroju wewnętrznego.

W kilku wybitnych typach kobiecych, które p. Laura Marholm w swej książce scharakteryzowała, objawy te wyraźnie zaznaczyć się dają, — a choć możnaby zakwestyonować prawo

---

On stał zakłopotany, zlekka kołysząc w swych ramionach małą jej drżącą postać; nie wiedział co do niej mówić; w milczeniu całował jej włosy i gładził bladą jej twarzyczkę. Stali tak dość długo; wreszcie powoli uspokajać się poczęła. Podniósł jej głowę i na załzawionych jej oczach długi wycisnął pocałunek.

Wtem usłyszeli kroki w mieszkaniu. Engelke wyrwała się z jego objęć i szybko do drzwi się zbliżyła.

— Bądź zdrowa, najdroższa! przybędę jutro!

Skinęła mu zdala głową na pożegnanie i za drzwiami znikła.

Bergström sam otworzył drzwi, zeszedł ze schodów i udał się do domu; serce przepełnione miał smutkiem....

IV.

Gdy nazajutrz rozpoczął poszukiwania swoje, celem sprawdzenia owego stosunku Nörgaarda, — zauważył, że jego dotychczasowa pewność nieco była zachwiana. Do wczorajszego dnia, ani na chwilę nie wątpił, że rzecz się miała tak, jak utrzymywał. Teraz postanowił bliżej ją zbadać. Przypomniał sobie, że mu ją ktoś, przed kilku laty opowiedział, a przez czas ten przybrała ona w umyśle jego tak rzeczywiste kształty, że stała się dlań w końcu faktem niewątpliwym. Nie przychodziło mu nawet nigdy na myśl zapytać się siebie, dla czego? Wczoraj dopiero, zapytania stanowcze doktora wywołały w nim pewne wątpliwości, zaś obawa i szczery smutek Engelki tak bolesne zrobiły na nim wrażenie, że większą część nocy przemyślał nad rozwiązaniem tej zagadki przed sobą samym. W jakiej postaci rzecz ta pierwotnie mu się przedstawiała, jak to było z początku samego? Niełatwa to była rzecz dotrzeć do prawdy; gdyż im więcej zagłębiał się w sprawę tą, tem mniej konkretnych widział w niej punktów, — a wszystko jakby mgłą ciemną otoczone.... Powoli chwiać się poczęły podwaliny, na których gmach dotychczasowy spoczywał — aż wreszcie wszystko zawisło w powietrzu, rozpływając się w mgle śmiałych przypuszczeń....

Tymczasem w poszukiwaniach swoich natrafił na ślad całej tej sprawy. Przed kilku laty słyszał on o Nörgaardzie, który wówczas otrzymał był dopiero tytuł asesora, że nie jest on takim świętym ascetą, za jakiego chętnie chciałby uchodzić, że zapewne jak inni wygodnie życie sobie urządził. Bergström zapamiętał to sobie dobrze, co słyszał, a nawet do pewnego stopnia był tem ucieszony, gdyż Nörgaard, który pilnością i energią wszystkich prześcigał kolegów, tem samem do nich się zbliżał i w końcu nie lepszym był od innych. Po niejakim czasie dowiedziano się znowu, że Nörgaard zerwał stosunek z pewną dziewczyną i niegodnie ją porzucił. Wskazywano nawet na pewnego młodego człowieka, dzielnego lekarza, który się zajął następnie losem biednej dziewczyny, zapewne jednak nie jak ojciec....

Cała ta historya zresztą tak była zwykłą, że byłby ją z pewnością zapomniał, gdyby przypadek nie zrządził, że poznał Nörgaarda w domu dr. Pauli. Od tej chwili zaczął się więcej interesować jego sprawami, a mówiąc o nim wiele z Engelką, powoli przypominał sobie te wszystkie słyszane wówczas szczegóły z jego życia, które powoli przybrały kształty rzeczywiste, tak że z całem przeświadczeniem, z oburzeniem zupełnie szczerem, opowiedział wówczas tę historyę. Teraz było to jasne dla niego.

Gdy więc nazajutrz wybierał się do owego lekarza, który bliższych udzielić mu miał wiadomości, prawie już wiedział, jaka będzie jego odpowiedź. Wszystko to, naturalnie okaże się nieprawdą — i już myślał o tem, w jaki sposób delikatny o tem Engelkę powiadomi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

wysnuwania wniosków ogólnych na podstawie małej liczby, bo sześciu tylko psychologicznych monografii, to przyznać można, że i te sześć postaci do ciekawych uwag pole nastręczyć mogą.

Uwagi takie jednak mieć będą wyłącznie subjektywny charakter i do znaczenia pewników lub praw ogólnych pretensyi rościć nie powinny. Dowodzą tego nawet rozumowania autorki.

Laura Marholm była niegdyś zapaloną szermierką równouprawnienia kobiety, stronniczką tego ruchu, który zwalczając przesąd o niższości umysłowej niewieściego rodu, stara się dla niego wywalczyć współrzędne z rodem męzkim stanowisko społeczne, pozbawiając płeć silną wszystkich przez nią uzurpowanych monopoli. — Od czasu jednak, gdy stała się małżonką znakomitego skandynawskiego pisarza, Oli Hanssona, przerzuciła się w przeciwną ostateczność i w poczuciu niższości kobiecej a uznaniu wielkości mężczyzny niejednokrotnie wszystkie przekracza granice.

W książeczce, którą omawiamy obecnie, dowieść ona pragnie teoryi, już przez śp. Klementynę Tańską kwestyonowanej, iż kobieta jest zerem, które tylko obok męzkiej jednostki postawione, znaczenia nabiera. Szwedzka autorka w innych tylko słowach przekonanie to wyraża. Jej zdaniem kobieta — to powłoka, która zamyka próżnią. Jest ona istotą bez treści wewnętrznej — tę zaś nadać jej może tylko mężczyzna. Wszelkie dążenia kobiety do pracy, nauki, szerszej społecznej działalności, uważa autorka za szukanie owej wewnętrznej treści, — szukanie daremne, pełne bolesnych rozczarowań i gorzkich zawodów, póty, póki on kochający i kochany pustki jej życia wypełnić nie raczy.

Argumentów na poparcie jej przekonań dostarcza każdy przytoczony przez autorkę życiorys.

Marya Baszkircew, młode, wszechstronnie utalentowane dziewczę, które zabija się pracą nad siły, — to istota niekompletna. Trwoni życie w niezmiernej tęsknocie, niezmordowanej pogoni za czemś, coby wypełniło otaczającą ją pustkę, za jakiemś szczęściem niepochwytnem i wielką sławą lub szaloną miłością, a umiera w 23 roku życia, nie znalazłszy ni jednej, ni drugiej — rozczarowana do siebie samej — w poczuciu swej bezsilności, której ani praca, ani talent zwalczyć nie mogły. Jej pełen poezyi przedwczesny koniec opromienia jako zorza wieczorna uwielbienie dla mistrza Bastien Lepage, wobec którego ambitna dziewczyna chyli głowę, staje się pokorną, słodką i cichą. Nauczyła się zdumiewająco wiele, ale stworzyć nic nie zdołała, gdyż twórczość jest przywilejem jednostki — mężczyzny, — a nie zera — kobiety. Nie stworzyła nic, gdyż nic nie przeżyła, niczego w życiu nie zaznała, prócz swojej niezmiernej, bezbrzeżnej tęsknoty.

Pani Edgren-Leffler, księżna Cajanello — to sobowtór samej autorki. Do czterdziestego roku życia literatka zdolna, dzielna szermierka równouprawnienia kobiety, toczy zaciętą walkę z despotycznym rodem męzkim. Potem niezwyciężona bojowniczka ulega niezwalczonej potędze miłości i umiera pogodzona nietylko z brzydką połową rodu ludzkiego, lecz z samą sobą — z życiem — umiera szczęśliwa, spokojna, łagodna i słodka, rozpromieniona urokiem macierzyńskich rozkoszy.

Eleonora Duse jest kobiecym geniuszem na scenie. W sztuce szuka wrażeń, a gra jej jest tylko objawieniem jej wewnętrznej kobiecej natury. W każdej roli uwydatnia przedewszystkiem swą własną indywidualność, której główne cechy stanowią melancholia i szlachetność. Melancholia ta płynie z niesłychanego zmęczenia — a zmęczenie jest wynikiem pogoni za silnemi wrażeniami, których tylko sztuka dostarcza, a których w życiu znaleźć nie można. Ta sprzeczność między światem sztuki a światem rzeczywistości — wywołuje rozstrój wewnętrzny, który trawi jej istotę.

Najobszerniejszy i najciekawszy życiorys Zofii Kowalewskiej dowodzić ma również tej wrodzonej nicości kobiecej. Gdyby dowód ten zaakceptować, znaczyłby bardzo wiele, gdyż zapewne wśród całego zastępu samodzielnie pracujących kobiet trudno znaleźć równie znaną i ogólnie uznaną naukową wielkość. Zofia Kowalewska dzięki nadzwyczajnym zdolnościom i olbrzymiej pracy zdobyła taki stopień wiedzy, jaki tylko wyjątkowych mężczyzn udziałem bywa, i takie wysokie naukowe stanowisko, jakiego żadna współczesna nie osięgnęła kobieta. Imię jej jest na ustach tych wszystkich kobiet, które zwalczać pragną przesąd o umysłowej niedojrzałości płci swojej, jest ono hasłem w walce o równouprawnienie, choć Kowalewska szermierką emancypacyi nigdy nie była. Ale ta, która to imię nosi, nie zaznała ani szczęścia, ani zadowolnienia, ani spokoju. Życie jej było puste i chybione, w duszy panował rozłam wewnętrzny — brak jakiś — pustka, którą zresztą zbyt późno już odczuwać zaczęła, a której wypełnić nie udało jej się nigdy. Młodość swą poświęciła pracy, w wieku dojrzałym zapragnęła miłości, ale i miłość nie dała jej tego, coby ją z życiem pogodzić mogło, gdyż Kowalewska wydziedziczona była z jednego z najcenniejszych skarbów kobiety: „nigdy dla żadnego mężczyzny nie była wszystkiem“.

Wszystkie one, zdaniem Laury Marholm, są istotami nienormalnemi, dusza ich jest chora — i to chora na wewnętrzną próżnią, której nie wypełnią ani malarstwo, — ani literatura — ani sztuka dramatyczna, ani matematyka i nauki ścisłe, gdyż wypełnić może ją tylko mężczyzna.

Wśród przytoczonych typów jest jeden tylko, który jaśniejszemi stąpał torami: skandynawska naturalistka *Amelia Skram*. Sprzyjało jej szczęście; wyrosła na słonecznej stronie życia, jak mówi Laura Marholm. Poznała ona i pokochała człowieka, który został jej mężem, a był zarazem jej przewodnikiem umysłowym. Pokierował on jej talentem, wskazał drogi właściwe, pomógł do osiągnięcia tego zakresu duchowego rozwoju, na który jej zdolności pozwalały, i dzięki pani Skram Amelia Müller zdobyła szczęście i wewnętrzną równowagę.

Znaczenie tego faktu osłabia przecież jedna trafna bardzo uwaga autorki. Twierdzi ona, iż istnieje ścisły związek między indywidualnością i szczęściem. „Są ludzie jakoby z jednego stworzeni odlewu i ci umieją zdobyć to, czego ich natura potrzebuje, umieją z życia wyssać soki żywotne dla swego rozwoju konieczne siłą działającą poza granicami ludzkiej świadomości, gdyż już w łonie matki rozstrzyga się kwestya, czy człowiek będzie istotą całkowitą czy złamaną wewnętrznie“.

Nasuwa się więc wątpliwość, czy Amelia Skram szczęście swoje zawdzięcza w wyższym stopniu mężowi czy owej właściwości natury swojej? Może „w łonie matki“ już zdecydowała się kwestya, że ma być szczęśliwszą i więcej zrównoważoną niż Marya Baszkircew, Zofia Kowalewska itd. Kwestya ta pozostaje nierozstrzygniętą, jak zresztą większość tego rodzaju psychologicznych kwestyi! Zkąd bierze się w duszach jednych spokój i harmonia, w innych ciągła walka i dysonans? Dla czego tylokrotnie życie ludzkie — nietylko życie kobiece — jest wiecznem dążeniem, tęsknotą, pogonią za czemś, czego osięgnąć nie można? Dla czego tak mało istot — nietylko wśród kobiet — umie się pogodzić ze sobą i z życiem, przystosować do warunków istnienia swoją naturę? Gdzie leży przyczyna? w człowieku, czy poza nim? w duszy jego, czy w kolejach życia, które mu los przeznaczył?

Być może, że dla każdej jednostki inaczej odpowiedź wypadnie, — zbyt pospieszne uogólniania zawsze do błędów doprowadzić mogą.

Sądzę, iż Laura Marholm grzeszy zbyt pospiesznem uogólnieniem swoich krańcowych przekonań. Twierdzenie, iż mężczyzna stanowi panaceum na wszystkie kobiece cierpienia, jedyne, wyłączne i niezawodne dla każdej kobiecej istoty, źródło nietylko szczęścia, lecz duchowego rozwoju, moralnej i umysłowej doskonałości, iż jest on zarazem rozwiązaniem wszelkich zagadek duszy kobiecej i wszelkich wewnętrznych jej walk i kolizyi — jest bezwarunkowo zbyt jednostronnem.

Gdyby kobieta istotnie stanowiła absolutną próżnią, lub inaczej mówiąc surowy materyał, z którego jedynie mężczyzna w pełni żyjącą istotę utworzyć może, to w rezultacie dla jej szczęścia i równowagi wewnętrznej byłoby rzeczą obojętną, kto tę martwą glinę na posąg przerabia — kto w tę próżnią swą własną treść wlewa. Bez oporu, obojętnie stawałaby się ona tem, czem ją czyni przeznaczony dla niej artysta.

A jednak przytoczone typy współczesnych kobiet skreślone przez p. Marholm okazują wprost przeciwne objawy. Nie zbudził do życia i nie natchnął treścią ani p. Kowalewski swej żony, ani p. Leffler późniejszej księżnej Cajanello — ani wreszcie pan Müller owej „z jednego odlewu“ późniejszej Amelii Skram.

O szczęściu, o rozwoju, o równowadze wewnętrznej tych kobiet decydował nie mężczyzna — lecz miłość, a tę miłość twórczą, uszczęśliwiającą, — owo słońce, pod którego jasnem promieniem istota kobiety rozwija się i zakwita, — rozniecić mógł tylko pewien wybrany mężczyzna. Jeżeli zaś kobiety współczesne, chcące być czemś same przez się, z większą trudnością na owego wybranego natrafiają, to może właśnie dla tego, że wyrobiły w sobie treść bogatszą, więcej skomplikowaną i mniej monotonną niż te, które zachowały prostsze, więcej prymitywne natury i są istotnie zerami postawionemi przy cyfrze. Trudniej dostroić do harmonii dwa wydoskonalone instrumenty, niż w takt uderzać w bęben przy muzyce katarynki. Pani Marholm przyznaje to zresztą poniekąd, a choć twierdzi, że współczesne kobiety wbrew swemu przeznaczeniu dążą do unikania mężczyzny, to jednak w innem miejscu utrzymuje, iż właśnie one, te, które same przez się czemś być usiłują, wnoszą do wspólnego pożycia większe bogactwo uczuć i lepiej są uzdolnione do spełniania właściwej kobiecej roli.

Co innego jednak twierdzić, że kobieta jest niczem, zanim się stanie „wszystkiem“ dla mężczyzny, co innego znów utrzymywać, że bez miłości i to miłości wzajemnej kobieta stać się może szczęśliwą, zrównoważoną, rozwiniętą w całej pełni istotą.

Pewien brak i pustka odczuwać się daje bez kwestyi w życiu każdej kobiety — (a może i w życiu każdego człowieka) — jeśli przeznaczenie zamknęło jej wstęp do owej cudownej krainy, którą czarodziejskie słowo „kocham“ otwiera. Sądzę też, że nikt z ludzi doświadczonych i trzeźwo na świat i życie patrzących nie wątpi, że ani nauka, ani literatura, ani sztuka nareszcie żadnej kobiecie tyle szczęścia zapewnić, tak życia wypełnić nie mogą, jak miłość szczęśliwa i macierzyństwo, że tych dwóch wielkich rozkoszy życia nic im w zupełności zastąpić nie zdoła. To też kobiety, które miłości i macierzyństwa nie zaznały, mogą być mądre i zasłużone, mogą żyć i pracować z pożytkiem dla społeczeństwa, mogą osiągnąć względną sumę szczęścia i udoskonalenia wewnętrznego — lecz w porównaniu ze szczęśliwszemi siostrami swemi zawsze uważane być muszą za wydziedziczone a poniekąd nawet niezupełnie rozwinięte, nie całkowicie normalne istoty.

Zachodzi tu jednak pewna trudna do rozstrzygnięcia kwestya statystyczna.

Jaki na ogół biorąc procent kobiet osięga tę najwyższą pełnią rozwoju, która zarazem najwyższą pełnią szczęścia zapewnić może?

Sądzę, że nie omylę się bardzo, wyłączając z góry wszystkie kobiety bezdzietne, gdyż macierzyństwo jedynie dopełnia fizycznego i moralnego rozwoju kobiety, stwarzając dla niej nowy świat uczuć, pojęć i obowiązków, rozszerza jej umysłowy i uczuciowy widnokręg, otwiera jej tak szerokie pole działalności, że najdzielniejsza, najbogatsza natura wyczerpnie prędzej wszystkie swoje moralne i umysłowe zasoby, wszystkie siły żywotne, zanim powiedzieć sobie zdoła: w tym kierunku już nic nie mam do zrobienia. Naturalnie nie chodzi tu wyłącznie o fizyczne macierzyństwo. Są matki i matki — a wbrew temu, co w tym przedmiocie od wieków bezmyślnie powtarzano, tysiączne fakty z codziennej rzeczywistości wzięte dowodzą, iż nie wystarcza urodzić

dziecko, aby odczuć w swej duszy cały ogrom miłości, poświęcenia, zaparcia się siebie, który zwykle pod określeniem miłości macierzyńskiej rozumiemy. Ta sama kategorya uczuć różne ma znaczenie u różnych osobników, zależnie od ich moralnego i umysłowego rozwoju, pod tą samą nazwą mieszczą się różne wartości, a im wyżej udoskonaloną jest natura ludzka, tem bogatszą treść wlewa we wszystkie człowieka dążności, uczucia i czyny.

Co mówimy o macierzyństwie odnosi się również do miłości. Do kategoryi kobiet uszczęśliwionych i udoskonalonych przez miłość zaliczyć nie można wszystkich tych, które kochały wzajemnie kochane, ani nawet wszystkich tych, które się z przedmiotem swej miłości na całe połączyły życie.

I miłość różnych ludzi różny miewa charakter, i harmonia dwóch przeznaczonych sobie istot może być głębszą lub powierzchowną, przelotną lub stałą, a jakże często kończy się zgrzytem przeraźliwego dysonansu. Bywają miłości przypadkowe, miłości przez zewnętrzne warunki wywołane, bywają i takie, które są nieszczęsną pomyłką, lekkomyślną zabawką, chwilowym kaprysem — a żadna z nich — bez względu na wynik ostateczny ożywczem źródłem doskonałości i szczęścia zostać nie może. Obserwacya faktów codziennych dowodzi, iż zbawienny wpływ miłości w życiu kobiet nie jest tak powszechnym, jakby to czytając niektóre ustępy książki p. Marholm sądzić można. Niektóre ustępy, powtarzam, gdyż inne niezmiernie ciekawe, stanowią dla jej przewodniej teoryi poważne znaki zapytania. I tak czytamy z racyi książki p. Egerton pt. Keynotes:

„Powtarza się w niej wiecznie ta sama kobieta, zawsze kochana przez wielkiego, ociężałego, komicznego mężczyznę, który raz jest poczciwy i spokojny, to znów dziki, gburowaty i opiły, raz ją poniewiera, innym razem na rękach nosi, a nigdy nie wie, co poniewiera, lub co na rękach nosi.“

Pisząc zaś o dzienniku Maryi Baszkircew mówi:

„Oto typowy los cywilizowanego młodzieńca i kobiety naszej epoki. On zbliża się do niej złamany, zaspokoiwszy swe pragnienie, ona wyniszczona pragnieniem wiecznie powstrzymywanem.“

A oprócz wyżej zaznaczonych, ileż to jeszcze w życiu trafia się wypadków, w których, mimo miłości, ani o harmonii, ani o udoskonaleniu mowy być nie może! ileż razy miłość i małżeństwo zamiast podwyższyć i rozwiuąć, obniżają i ścieśniają naturę kobiety, zasklepiają jej widnokręg, sprowadzają umysł do poziomu najpospolitszych, najbardziej filisterskich, najpłytszych interesów i poglądów, — a wszystko to zależy od tego, kogo kocha, jak kocha i jak jest wzajemnie kochaną. A ów mężczyzna, w którym p. Marholm zbawienie duszy kobiecej widzi, czyż zawsze stanowi w jej życiu wpływ dodatni i czynnik ożywczy? — czy nie poniża jej niekiedy, nie zaprawia cierpką goryczą, nie zaraża zepsuciem?

Jeżeli teraz weźmiemy pod uwagę cały zastęp kobiet żyjących bez miłości, ogromną liczbę tych, które w niej nie znalazły szczęścia, lecz zawód, upokorzenie, niesmak lub nudę, — dalej i te jeszcze, którym przeznaczenie odmówiło największego błogosławieństwa losu i najwyższej dla kobiety macierzyńskiej godności, dojdziemy do przekonania, że to, co Laura Marholm i tylu innych jako normalne i najpożądańsze przeznaczenie kobiety uważa, zaledwie wybranek losu udziałem bywa.

Zaznaczyć jednak wypada, że znaczna większość kobiet, — szary tłum, złożony jak tłum każdy z przeciętnych miernot — nie odczuwa zbyt silnie braków swego istnienia, a do roli wybranek losu nie dorosłszy, nie rozumie jej, nie ceni i zadawalnia się dość łatwo swą połowiczną, pustą, treści i interesu pozbawioną egzystencyą. Do tej kategoryi zaliczyć można wszystkie panny na wydaniu, pragnące nie miłości, lecz małżeństwa, unikające nie pustki w życiu, lecz ośmieszonej roli starej panny: — mężatki, których mąż jest tylko generalnym dostawcą wszystkich przedmiotów potrzeby i zbytku, — matki, dla których dzieci stanowią tylko sposobność do zaspokojenia macierzyńskiej próżności, — słowem, cały rój gęsi i gąsek pospolitych.

Jeżeli istota kobiety jest próżnią, to jej dla zapełnienia tej próżni nie trzeba wielkiej miłości — wystarczą fatałaszki, gałganki, ploteczki i komeraże. O ile wyżej stoją te, które chcąc być czemś same przez się, pracują nad sobą, kształcą się, poświęcają nauce, sztuce lub służą umiłowanej przez siebie idei. Jeżeli trudniej osiągnąć im wewnętrzną równowagę i spokój, to tylko dla tego, że im kto wyżej dąży, tem więcej siły wytężać, tem więcej zawodów, więcej walk, pragnień i tęsknot przeżyć musi. Bogatsze, wyżej uposażone natury, więcej w życiu cierpień odczuwają, lecz też za to osięgnąć mogą taki stopień szczęścia, jakiego i pojąć nawet nie mogą „konchy, które w bagnie tają“.

Być może wreszcie, że wszystko co tu powiedziano nietylko do kobiet się odnosi, być może, że w życiu i charakterach mężczyzn odszukaćby można bardzo zbliżone analogie. Niewątpliwie i oni czasem odczuwają pustkę, którą tylko miłość szczęśliwa wypełnić zdoła, niewątpliwie rodzaj tej miłości oddziaływa na ich charakter, poziom umysłowy, na ich wewnętrzną równowagę, udoskonalenie i rozwój.

I. Moszczeńska.

Bohaterowie a poeci.

(Ciąg dalszy).

Nie ma poety, któryby w pewnym przynajmniej okresie rozwoju ducha swego nie był tego zdania, „że świata być nie powinno“ i że wszędzie i zawsze on jest jeden tylko, a z niego wszystko wypływa. A iluż na takiem stanowisku wytrwało do końca, „w dojrzalsze wchodząc lata“, nie pytając wcale siebie, jak Mickiewicz to zrobił: „czyliż mu na to wieszczy głos bogowie dali, aby o sobie tylko w każdej nucił dumie“. Zatrzymaliśmy się tu na t y p o w y c h usposobieniach i nastrojach poetów, na takich, od których najwięksi nie byli wolni, zbyteczna więc zastanawiać się nad poszczególnemi ich przejawami, nad tem wszystkiem, od czego się roi współczesny dekadentyzm poetycki. Wystarcza to, ażeby poetę przeciwstawić bohaterowi. Wiemy, że można byłoby przytoczyć masę przykładów, świadczących o wręcz przeciwnych powyższym usposobieniach poetów: wiemy o ich akcentach podniosłych, „bohaterskich“, i te wszakże nie zbliżają ich do bohaterów.

Bohater nie może żyć bez wcielenia w kształty konkretne, w formy społeczne wyznawanych przez się ideałów prawdy i sprawiedliwości; poeta może ich urzeczywistnienie odsunąć w jakąś mglistą nieskończoność dla niego jedynie widzialną i zrozumiałą, może się zadawalniać własnem urojeniem, kołysać się niem, usypiać etc. Poecie rzeczywistość zastąpi fantazya, jej wytwór uszczęśliwi go jak najistotniejsza realność; on go nawet utożsami z nią; dla tego nie będzie widział potrzeby działania, owszem, niekiedy nawet będzie go unikał, gdyż działanie może urzeczywistnić ideał jego w formie niezupełnej, może oszpecić i wykoszlawić, a myśl czegoś podobnego do rozpaczy przywodzi poetę. Bohater przeciwnie, radby wszelką chimerę nawet, każdą fantazyę własną, natychmiast przyoblec w kształty, niecierpliwi go to wszystko, co jest tylko w myśli, a nie ma swego odpowiednika w otoczeniu, w którem się obraca; dla tego działanie, niepełne nawet, woli od najszczytniejszego kontemplowania idei. Ani Wiklef, ani Savonarola i t. p. nie mogliby zadowolnić się kontemplowaniem idei doskonałości moralnej, gdyż dla nich tylko wcielenie idei tej miało wartość, oni chcieli tę doskonałość mieć przed oczyma swojemi. Tak samo żaden Hofer, Garibaldi lub t. p. nie mogliby żyć w y o b r a ż e n i e m tylko szczęścia tej grupy ludzkiej, do jakiej należeli, gdyż szczęście to rozumieli jako coś takiego, na co można wskazać ręką, co stanowi formę ich życia. Tymczasem poeta może się oderwać od ziemi, przenieść się w świat własnych marzeń i o wszystkiem zapomnieć. Może powiedzieć n. p.: „Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną, gdzieindziej pójdę i lud pójdzie za mną!“ — i po wydaniu takiego okrzyku spokojnie stać w miejscu, albo pójść w przeciwnym zupełnie kierunku temu, o jakim mówił; ci, co porywali się wskazywać ludowi drogę, nie szli wcale „gdzieindziej“, lud szedł bez nich, prowadzony przez bohaterów. Poeta może brzmieć uroczyście peanem nadziei i mówić:

„Dość już długo, dość już długo
„Brzmiał na strunach wieszczów żal!
„Czas uderzyć w strunę drugą,
„W czynów stal, —

i z obawą myśleć o tej „stali“ czynów, o jej skutkach i ciosach, jakie zadać może. „Przeciw piekłu“ chce „kord podnosić“ i z chęcią tą bohaterską łączy bez trudu rojenia o jakichś zmartwychwstaniach cudownych, które ze sprawą czysto ludzką „podnoszenia korda“ nic wspólnego nie mają i od ludzi nie zależą...

I tak wciąż i najczęściej odnajdziemy u poety same tylko podniosłe wykrzykniki i gromy oburzenia, stojące w sprzeczności nietylko z jego czynami, ale nawet z myślą.

Do niego bowiem należy wydanie okrzyku, jemu trzeba przelatywać w wyobraźni z „błyskawicy na błyskawicę“, roztrząsać samego siebie siłą swego słowa i podziwiać własny polot ducha. W y o b r a ż a ć s i e b i e w d z i a ł a n i u i w y o b r a ż a ć i n n y c h d z i a ł a n i e i to należy do niego, nie zaś zlewanie w jedno słów i czynów. Poeta z temperamentu swego daje się porównać z temi organizacyami psychicznemi, co zadawalniają się wyobrażeniem tych przedmiotów i czynności, jakie ich potrzebom zadosyć uczynić mogą: bohater przeciwnie należy do tych, co po doznaniu podniety, po odczuciu pragnienia natychmiast chcą je zadowolnić, i nie wyczekując, wyciągają rękę po odpowiednie przedmioty.

Poeci, obdarzeni prawdziwie bohaterskim temperamentem, wątpili w końcu o skuteczności wykrzykników poetyckich i o wartości dzieł nawet własnych. Byron, wypowiadający wobec ruchu maszyn fabryki, którą zwiedzał, te pełne gorzkiego zawodu słowa: „tutaj więcej poezyi, niż we wszystkich moich rymach“, jest dobrym przykładem tego zwątpienia; kazało mu ono wreszcie szukać nie fikcyjnej walki słowami, lecz rzeczywistej, i chwycić za oręż w obronie wolności Greków, byle walczyć, t. j. działać. Wielkie słowa bohaterów, powiedzieliśmy wyżej, streszczają zawsze tę ich gotowość poparcia takowych czynem; czyż u poetów może być coś podobnego, kiedy większość ich szczytnych wykrzykników jest wytworem jakiejś nieokiełznanej działalności mózgowej? wynikiem tej bezwiednej cerebracyi, z jakiej sprawy sobie często nie zdają i za jaką wcale nawet nie są odpowiedzialni. Wir myśli, nad którym nie panują, porywa i unosi ich daleko; rezultatem tego jest nieprzebrana ilość zdań, przysiąg, przekleństw i t. p., które nie mają swych rownoważników w mocnem postanowieniu wypełnienia ich, gdyż z żadnych postanowień nie wypłynęły. Tego wszystkiego najczęściej ani oni sami, ani inni nie byliby w stanie urzeczywistnić, gdyż nie są to pojęcia, mogące przybrać kształty zmysłowe, lecz wyniki myśli oderwanej, czystej i to w dodatku wzburzonej, kierowanej prawami niedającego się powstrzymać kojarzenia wyobrażeń. Prócz tego nie zapominajmy, że poeta, najbardziej nawet wzniosłemi uczuciami przejęty, nie przestaje być poetą t. j. człowiekiem, hołdującym pewnemu kunsztowi, dla którego chce coś zawsze zrobić: wywyższyć go, uświetnić etc. Ileż więc to wywołuje świetnych zdań, uroczych obrazów, myśli pełnych znaczenia, które tylko niestety w poezyi mają wartość! — a ile misternych zaokrągleń wiersza, dopełnień, porównań etc., które nic nie wyrażają i są tylko narzędziami jego sztuki! Entuzyazm poety bywa nierzadko z g ó r y p o w z i ę t y m, obmyślanym na chłodno: patos jego ma swoją dyalektykę i jest często logicznem rozwinięciem jakiegoś założenia, jest

przeto zwyczajnem rozumowaniem, któremu nie odpowiada żadne wzruszenie. Patos bohatera ma przeciwnie za punkt wyjścia zawsze jakieś zastrzeżenie całej jego istoty moralnej, wywołane najczęściej wrażeniem, pochodzącem z zewnątrz. Bohaterstwo jest zaprzeczeniem wszelkiego filisterstwa; poeta ogromnie niem grzeszy. Poeta zawsze rozwiązuje zagadkę szczęścia: kto zaś temu niewdzięcznemu zajęciu się oddaje, ten próbuje rozmaitych sposobów, ułatwiających takowe, szuka wciąż dróg, wiodących do szczęścia: szukając go, czerpie ze wszelkich źródeł rozkoszy i o nią dba przedewszystkiem. Najszczytniejsze dążenia, największe cele idą w ciemny kąt, kiedy ktoś zniecierpliwiony tem, że szczęście jest niepełne, a rozkosz zawodna, miota się na wszystkie strony, by choć na chwilę stanąć u szczytu upragnionej szczęśliwości. Ściganie rzeczy znikomych, nikłych i odnoszących się do istnienia przemijającego, ściąga ludzi z wyżyn i w poziomość wtrąca.

J. Słowackiemu nikt nie odmówi orlego polotu myśli, wzbijania się ponad szarzyznę powszedniego życia i potężnego pragnienia czynów podniosłych. Zdawałoby się, że człowiek, przesiąknięty do rdzenia istoty swej nieubłaganą wzgardą dla wszelkich „zjadaczy chleba", potrafi uniknąć tych pospolitych pokus, na jakie każdy „zjadacz" tuzinkowy jest wystawiony. A tymczasem w życiu Słowackiego tyle znajdziemy poziomych chęci i dążeń, tyle próżnostek i ideałów filisterskich, ile ich tylko u fachowych filistrów znaleść będzie można. Szczytny poeta nasz, gromiący swem potężnem słowem praktyczne trzymanie się ziemi, drwiący z pragnień, nie sięgających dalej końca nosa, jakże sam, w niejednej chwili swego życia, po mieszczańsku rozczula się i omdlewa, jak roi o spokojnym, cichym kątku, gdzieby mógł gruchać z panią serca swego, i jak drobniutkim uciechom się oddaje. (Ktoby się chciał o tem przekonać, niech zajrzy choćby do drobiazgowych prac o Słowackim p. Hösick'a).

Proszę nam wymienić bohatera, któryby odezwał się kiedy w te słowa:

„Qu' amour soit désormais la fin de nos desirs.
„Car pour eux seulement les Dieux o n f a i t l a g l o i r e.
„E t p o u r n o u s l e s p l a i s i r s".

(Poeta francuski XVII w., Racan, uczeń sławnego Malherbe'a, w wierszu, poświęconym przyjacielowi swemu Bussy-Rabutin). Poeta wyrzeka się nawet tego, co jest nieraz głównym bodźcem w działaniach bohaterów, wyrzeka się i sławy dla przyjemności i rozkoszy zmysłowych, których jest niewolnikiem. Czyż inaczej postępuje ten, kto jak p. Tetmajer n. p. najszczerzej powiada po wielu odgrażaniach się i wybuchach, że „jedno mam tylko pragnienie rozkoszy".

Może on wprawdzie wykrzykiwać i upewniać wszystkich, „że prócz sławy wszystko nic nie jest warte", (Tetmajer), ale dąży do tej sławy wtenczas, kiedy się przekonał, że pożądanych rozkoszy nie dostąpi tak łatwo. Sława jest dla niego tylko „świetną żałobą po szczęściu", jak powiada M-me de Staël, jest ostatnią ucieczką, nie zaś takim przedmiotem współubiegania się, któremu oddaje się pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi. Zresztą sława zdobywa się czynami nieśmiertelnemi, a jak tu mieć siły na ich spełnianie, kiedy się po lada zawodzie sercowym „umiera z żalu, omdlewa z tęsknoty" i duszę ma się „z popiołów"? To nie są usposobienia sprzyjające zdobywaniu sławy! Do niej trzeba dążyć z takiem rozradowaniem wewnętrznem i tak ochoczo, jak dążył ów wojowniczy poeta wieków średnich, rycerz-trubadur Bertrand de Born, którego Dante spotyka w swem piekle niosącego w rękach własną okrwawioną głowę, co, chociaż nęcony powabami „słodkiej wiosny i miłym szczebiotem ptasząt", przenosił nad to wszystko:

...quand sur lepré
Je vois l'étendard arboré
Flottant comme un signal de guerre;
Quand j'entends par monts et par vaux,
Courir chevaliers et chevaux
Et sous leurs pas frémir la terre...

Z tego rodzaju usposobieniem, przenosząc je w dziedzinę walk ducha, można tylko zdobywać wawrzyny! Wymaga ono jednak najczęściej wyrzeczenia się wszelkich rozkoszy, związanych ze „słodką wiosną i szczebiotem ptaszat", podporządkowania mu czułych westchnień i tęsknot, z czem znowuż poeci niełatwo się rozstają, a raczej wyrzekają się wtenczas, kiedy. już z tej strony nic nie oczekują. Wtenczas dopiero wykrzykują: „Niech żyje sława!"

Jeszcze jedno przeszkadza poecie zostać bohaterem i nie wypuszczcza z uścisków filisterstwa: z zagadką szczęścia łączy się ogólniejsza sprawa: zagadka wogóle bytu a raczej śmierci. Poeta rozwiązuje i tę zagadkę sposób uniemożliwiający uskutecznianie wielkich czynów: on obawia się śmierci. Dręczy i niepokoi go myśl każdego unicestwienia jego jaźni, on nie może przystać na ostateczne jej zniszczenie przez śmierć, gdyż w tem widzi jakąś potworność, niesprawiedliwość natury. Wszystko, co jego bytowi zagraża, co rozwój jaźni przecina, uchodzi w jego oczach strwożonych za wroga, z którym wciąż trzeba walczyć. Jeżeli żąda niekiedy śmierci, to nie z pogodnem i radosnem usposobieniem bohaterów, którzy widzą w niej potwierdzenie i niekiedy tryumf najwyższy ich jaźni, on pragnie jej albo jako czegoś, co go uwolni od udręczeń i niezaspokojonych pożądań, albo jako ostatniej rozkoszy, która go nęci swą tajemniczością. (Weźmy choćby takich, jak Beaudelaire nekrofilów i t. p.). — Nastrój ducha, płynący z obawy śmierci, zradza tysiące chwiejnych usposobień, ubezwładnia wolę w dążeniu do dzieł nieśmiertelnych. Tylko ci, co z góry są przygotowani do tego, by żyć i na to, by umrzeć, co w istnieniu nie widzą zagadki pełnej obietnic uroczych, a w śmierci czegoś oburzającego i przeciwnego moralnemu porządkowi rzeczy, ci tylko do czynów nieśmiertelnych są zdolni. Poetom zdaje się nieraz, że to w nieprzerwanem trwaniu spoczywa nieśmiertelność; bohater wie, że to jedna chwila może ją mu zapewnić i wydobyć z nicości.

Wszystko to wytwarza w życiu poety mnóstwo „zależności", które nie dają się pogodzić z pojęciem bohaterstwa. Bohater zależnym jest tylko od tej idei, jaką pragnie wcielić w życie. Stara się on złamać wszelkie przeszkody, krępujące go w tem i potęgą swej woli „przezwycięży" samego siebie w chwilach odwodzących go od celów, którym się poświęca. O wszelkich słabostkach, ustępstwach i zależnościach poetów nie potrzebujemy dłużej mówić, gdyż te są aż nadto znane. Usuwamy nawet ztąd to wszystko, co jest hańbą pieśni, pomijamy ich płaszczenie się wobec potęg świata, schlebianie i kurtyzowanie możnym etc., co wszak do rzadkich wypadków ich życia nie należy; dość przejrzeć dzieje literatury powszechnej, by się o tem przekonać. Z pewnością byli inni poeci, tacy jak: Cervantes, Milton, Mickiewicz i t. p., ale ci nie stanowią większości. Paraleli naszej między poetą i bohaterem możemy już nie przedłużać: zbieraliśmy z jednej i z drugiej strony rysy wybitne, dające się w mniejszym lub większym stopniu odszukać u większości przedstawicieli obu. Rysy te wywodziliśmy głównie z organizacyi psychicznych odnośnych stron; z jednej znajdujemy pochłonięcie się ideą dla niej samej, dla celów ogólnych, z drugiej dla samych siebie, dla celów osobistych przeważnie: tu konsekwencya nieubłagana i nieugiętość w urzeczywistnianiu idei owych, oraz niesztuczne im hołdowanie, tam chwiejność, zmienność usposobień i więcej afektowanych, niż głęboko szczerych postanowień. Przyczyny tego wszystkiego leżą bez wątpienia w odmiennych organizacyach psycho-fizycznych bohaterów i poetów. Miękkie, wrażliwe na to, co się ich istnienia dotyczy — natury poetów, zaprzątnięte głównie dojmującemi ich wciąż bólami, nie mają potrzebnych sił dla wysiłków prawdziwie bohaterskich.

Są jednakże i inne, zależne od ogólnych warunków społecznych, od chwili dziejowej itp. okoliczności; także od ustalonych panujących pojęć o sztuce, jej zadaniach etc... Polot poetyckiego wieszczenia słabnie n. p. w epokach wielkiego zamętu społecznego; wówczas mało kto myśli o śpiewaniu, gdyż wszyscy działają. Takiemi n. p. były epoki wielkich wojen Rpltej Rzymskiej, okresu Napoleńskiego i t. p.; wtedy wszyscy byli przejęci poezyą czynu i na poezyę słowa niewielką zwracali uwagę. Wielki rozkwit poezyi następował najczęściej po przeminięciu podobnych epok dziejowych, kiedy pokolenia następne, kołysane wspomnieniami świetnej przeszłości i znudzone powszedniością i martwotą własnego istnienia, „śpiewają tak, jakby działać pragnęły", lub rozpamiętywują w spokoju i ciszy ducha dawno minione wypadki. Tak nastąpił rozwój poezyi łacińskiej w spokojnym względnie okresie panowania Augustów, tak też wzniosła się na szczyty najwyższe poezya francuska w martwej epoce Restauracyi. Dawniej poeci więcej żyli ogólnem życiem, gdyż do tego zmuszały wprost warunki społeczne istnienia jednostek; więcej był każdy myśliciel, poeta i t. p. obywatelem, pełniącym jakieś obowiązki społeczne; Eschylos był genialnym poetą dramatycznym i znakomitym żołnierzem, biorącym udział w wyprawach, od których zależał los Aten; Ksenofont był znakomitym historykiem i zdolnym dowódzcą; Sokrates pierwszorzędnym myślicielem fachowym i tak dzielnym żołnierzem, że gdyby wszyscy Ateńczycy tak bili się walecznie jak on podczas wyprawy na Samos, to nie doznaliby porażki. Dzisiaj inaczej; poeci są za nadto ludźmi fachu swego, za nadto w nim zasklepieni i odcięci od żywych zdrojów życia. Zdaje się im, iż głównym ich obowiązkiem jest służenie sztuce, pieśni i t. p. abstrakcyom: oni bezustanku wykrzykują: Eviva l'arte! Dzisiaj specyalizacya tłumi za nadto w ludziach to, co istotnie jest ludzkiem; myśliciel tylko myśli fachowo i dba o najbardziej wzorowe pełnienie tej czynności; poeta śpiewa także fachowo, troszcząc się głównie o doskonałość swego śpiewu i postępy w dziedzinie swego zawodu. Eviva l'arte! — okrzyk ten — dominujący nad innemi — wszędzie się rozchodzi. Bohaterstwo jedno nie zna, co to fach i zewsząd może się rekrutować.

W jednem tylko poeta równy jest prawdziwemu bohaterowi i to istotnym wyrazem właściwego mu bohaterstwa — mianowicie w poświęcaniu się sztuce. Tu zdolnym jest on, jak wszyscy twórcy, do cudów bohaterskiego zaparcia się samego siebie, składa siebie na ołtarzu celów nieosobistych. Żywoty takich genialnych twórców jak Kamoens, Cervantes, Michał Anioł, Cellini, Murillo i wielu, wielu im podobnych świadczą o tem, do czego są zdolni poeci-artyści, kochający namiętnie swą sztukę i żyjący dla niej. Nie zapominajmy jednak, że żyjąc dla sztuki, oni żyją przez nią, a to ułatwia im ich powyższe bohaterstwo.

Władysław Jabłonowski.

(Dokończenie nastąpi.)

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z literatury ekonomicznej.

(Wiaczesław Budzynowskij: 1) Agrarni widnosyny Hałyczyny. 2) Chłopska positist'a nowoczasni ruspilno reformatorski zmahania. — Wacław Budzynowski: 1) Agrarne stosunki Galicyi. 2) Chłopska własność a nowoczesne społeczno-reformatorskie dążności.)

Literatura ekonomiczna w Galicyi i o Galicyi do niedawna prawie nie istniała. Ani jedna strona ekonomicznego życia społeczeństwa nie była opracowaną, procesy ekonomiczne, jakie z elementarną siłą wśród społeczeństwa działały i wyciskały swe piętno na gospodarstwie społecznem kraju i jego stosunkach finansowych były dla ogółu społeczeństwa *terra incognita*. Dość wspomnieć, jaką sensacyę wywołała Szczepanowskiego: „Nędza Galicyi w cyfrach", dzieło wcale nie najznakomitsze, z przestarzałymi nawet na swój czas datami, a chorujące bardzo na niedostatek objektywizmu. Już na większą uwagę zasługiwały prace Rusina Włodzimierza Nawrockiego, drukowane w rusińskich czaso-

pismach „Dile“, „Prawdzie“ i genewskiej „Hromadzie“, lecz nie były one dla Polaków dostępne z powodu języka, jak również dla tego, że „Hromada“ nie miała debiutu pocztowego w Austryi. — Uwagę Polaków zwróciły dopiero rozprawki Iwana Franki w „Przeglądzie społecznym“, mające swą wartość przedewszystkiem ze względu na poruszane tematy, bo opracowanie ich, chociaż dość staranne, zdradzało często pióro niefachowca. — Esencyą tychże artykułów, systematycznie ugrupowaną, był IV. rozdział dziełka K. D. „Kilka słów o położeniu włościan polskich“, które wyszło przeszłego roku we Lwowie i zostało naturalnie skonfiskowane. — Dopiero dwie w tytule wspomniane prace W. Budzynowskiego prawie wszechstronnie wyświeciły jedną stronę życia ekonomicznego Galicyi a mianowicie położenie włościaństwa i zarobników wiejskich, i wykazały, jakie reformy są dla polepszenia dzisiejszego stanu drobnej własności konieczne. — Autor drukował pierwszą pracę „Agrarne stosunki Galicyi“ w „Zapyskach“ (Pamiętniku) rusińskiego Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki, a potem wydał ją również w osobnej odbitce. Jest to praca statystyczna. Na podstawie starannie zebranych oficyalnych i nieoficyalnych dat i cyfr autor bada własność ziemską większą i mniejszą, ich wzajemny stosunek, wyłaniające się zmiany i wszelkie z tych stosunków wypływające patologiczne objawy społeczne. Treść więc, jak widzimy szeroka, a opracowanie również znakomite. Na 90 stronnicach wielkiej ósemki autor starał się o jak najmniejszą ilość słów, a natomiast każde swe zdanie ilustruje cyframi i tabelami umożliwiającymi łatwiejszą oryentacyą w tym prawdziwym labiryncie tak, że książka jest znakomitym podręcznikiem dla każdego, kto chce zaznajomić się z stosunkami ekonomicznemi Galicyi.

Jedyną wadą książki byłoby chyba to, że niektóre dane są już zastarzałe, lecz można to wytłomaczyć tem, że autor zbierał daty dawniej, a układając je w systematyczną całość, nie mógł już korzystać równocześnie z drukiem książki pojawiających się dat urzędowych. Dzieło to zasługiwałoby niewątpliwie, aby je na język polski przełożyć naturalnie z większem uwzględnieniem zachodniej Galicyi i nowszych dat.

Druga praca „Chłopska posiadłość i nowoczesne społeczno-reformatorskie dążności“, przedruk z „Naroda“, organu rusińskiej partyi radykalnej, jest treści czysto teoretycznej. Autor socyalista, ze szkoły Marksa, wziął sobie za zadanie zbadać, czy chłop przy dzisiejszym stanie produkcyi drobnej może przejąć się ideałami socyalistycznemi, jakie hasła trzebaby podjąć przy agitacyi socyalistycznej i jaki należałoby postawić program reform zdążających do chwilowego polepszenia doli chłopskiej, a nie tracąc z oka głównego celu i ideału autora: kolektywizmu. Odpowiednio do tego założenia cała praca dzieli się na trzy wybitniejsze części. W części pierwszej stara się autor zbadać położenie ekonomiczne chłopa galicyjskiego i maluje je nie cyframi, jak w pracy poprzedniej lecz żywem słowem. Opowiada szeroko o zniesieniu pańszczyzny, przeprowadzeniu rewizyi serwitutów, katastru, o lichwie, po mistrzowsku maluje obecne położenie chłopów, ich stopę życiową itd. W drugiej części analizuje pojedyncze projekty reform agrarnych, jakie pojawiły się w ostatnich czasach prawie w każdym kraju, a mianowicie: działalność banku chłopskiego rosyjskiego, założonego w 1882 r. dla zakupna ziemi, projekt włości rentowych pruskich i austryackich, projekt Crispiego, dalej zamierzoną reformę agrarną na Węgrzech, jak również działalność „Kółek rolniczych“ i „Związku handlowego“ oraz rusińskiej „Narodnej Tortowli“. Autor poddaje ostrej krytyce dotychczasowe stanowisko socyalno-demokratów do chłopów i teraźniejsze ich zabiegi w celu pozyskania tychże dla swej partyi. W trzeciej części wreszcie stawia swój program, z którego dla braku miejsca zacytujemy tylko główniejsze punkta: 1) unarodowienie własności większej; 2) nacyonalizacya kredytu w tym celu, by grunt zrujnowanego chłopa nie przechodził w ręce lichwiarza, lecz aby chłop mógł dalej na nim pracować jako dzierżawca; 3) z unarodowionej własności ziemskiej utworzyć parcele tak wielkie, by chłop wynajmując je po opłaceniu rozmaitych wydatków miał zapewnione pewne minimum egzystencyi; 4) parcele te będzie można wynająć tylko tym, którzy swój własny grunt odstąpią państwu pod takiemi warunkami, jak własność większa, t. j. oddadzą go za odpowiednim wynagrodzeniem w ręce państwa. Doprowadziwszy w ten sposób do unarodowienia ziemi, autor stawia dalsze postulaty w kierunku centralizacyi produkcyi, w kolektywnej jej formie, a mianowicie zaleca nacyonalizacyę handlu rolniczemi produktami przez częściowe reformy jak n. p. przez instytucyą rządowych składów zboża i zakupno tego gatunku zboża, który ma zbyt. Doszedłszy w ten sposób do potęgi na rynku handlowym państwo mogłoby wpływać na jakość produktów, co doprowadziłoby chłopów do używania lepszego nasienia, maszyn rolniczych itd.

To jest główny szemat ekonomicznego programu autora, a koło niego grupują się dopiero postulaty drobniejsze.

Ta ostatnia praca drukuje się już w polskim przekładzie w miesięczniku „Światło“ i wyjdzie niebawem w osobnej odbitce. Chociaż nie każdy zgodzi się na wypowiedziane poglądy autora, rozprawa jego stanowi w każdym razie cenny nabytek w literaturze ekonomicznej.

K. T.



KRONIKA GALICYJSKA.

Grzechynia pod Makowem, 21 lipca.

(Wybory sejmowe. — Miłośnicy ludu. — Towarzystwo pedagogiczne. — Opera sezonowa i stała. Przyjaźń w krytyce teatralnej).

Kiedy ojca gospodarza mojego, 85-letniego ślepego górala, zapytałem dziś, czy się czuje zdrowym, odpowiedział: „przydałoby się lepi, ale jakosik nie kce być“. Słowa te dadzą się zastosować prawie do wszystkich objawów życia galicyjskiego.

Dadzą się one naprzód odnieść do nadchodzących wyborów sejmowych. Odnalazł się wprawdzie centralny komitet wyborczy, o którego zaginieniu donosiłem, odnalazł się i jego prezes, hr. Wojciech Dzieduszycki, ale działalność jego do tej chwili nie odznacza się płodnością (to jest działalność komitetu, a nie hr. Dzieduszyckiego, bo ten jest płodnym za dziesięciu). Wyrwała go z drzemki odezwa reprezentacyi 30-tu miast galicyjskich, która naprzód zwróciła uwagę na agitacyę między ludem, działającą w interesie jednej tylko warstwy ludności, a następnie oświadczyła, że pragnie iść ręka w rękę z komitetem centralnym, ale pod warunkiem, żeby do udziału w pracach sejmowych dopuszczani byli bez względu na stan ludzie ukwalifikowani, świadomi narodowych celów i chcący postęp rozumny rozwijać sprawiedliwie we wszelkich kierunkach. Z odezwy tej reprezentacyi demokracyi miejskiej dowiedział się jeszcze komitet centralny, że poczyniła ona już kroki do utworzenia własnych komitetów wyborczych, — a to go tak przestraszyło, iż oba jego oddziały, lwowski i krakowski, postanowiły natychmiast porozumieć się z reprezentacyą miast 30-stu. Skutkiem tego porozumienia uznano za potrzebne odroczyć zawiązywanie komitetów wyborczych miejskich, dopóki komitet centralny tego za stosowne nie uzna. Ze wzajemnych wyjaśnień wypadło obustronne uznanie potrzeby solidarnego występowania wszystkich inteligentnych warstw społeczeństwa wobec obawy wprowadzenia do sejmu żywiołów antinarodowych, lub też mogących być zbytecznym, utrudniającym pracę sejmową balastem. Tak więc grożący rozłam pomiędzy komitetami centralnemi a miejskiemi został na razie udaremniony. Ze stanowiska ogólnych interesów kraju i społeczeństwa fakt ten należy przyjąć z zadowoleniem. Tylko nie należy przesadzać, nie drwić sobie z „konfederacyi burmistrzów“ i nie wołać, że komitety przez pojedyncze warstwy powołane do życia, byłyby „nowym podziałem kraju“, bo ten podział został stworzony przez ustawę wyborczą, która osobno każe wybierać szlachcie, osobno miastom, osobno izbom handlowym i wreszcie osobno ludowi wiejskiemu i małomiasteczkowemu i nadaje jeszcze wirylne prawo zasiadania w sejmie przedstawicielom duchowieństwa i uniwersytetu. Konfederacya więc burmistrzów, jak i inne wszelkie „konfederacye“, byłaby tylko logicznem następstwem ustawy, a że ta logika mogłaby ujemne wydać owoce, to rzecz całkiem inna.

Ugoda komitetów centralnych z reprezentacyą miast jest także pewną „konfederacyą“, a mianowicie konfederacyą inteligencyi, która obawia się skutków konfederacyi chłopsko-socyalistycznej. Od paru miesięcy w rozmaitych miejscowościach odbywają się nieustannie wiece ludowe pod hasłem: Precz z duchowieństwem, szlachtą i inteligencyą! Wszystkie przemówienia na nich są nastrojone na jedną nutę; agitatorzy (prawie zawsze jedni i ci sami) grają główną rolę, oni prawią o upośledzeniu ludu, oni stawiają wszelkie wnioski, a lud jest zazwyczaj tylko niemym słuchaczem. Władze krajowe, a raczej państwowe, — t. j. starostwa — gdzie tylko mogą stawiają przeszkody w odbywaniu się takich zgromadzeń. Nie ulega wątpliwości, że działalność starostów w tym kierunku sprzeciwia się zasadom konstytucyjnym, a powody zakazów są błahe, nakręcone, śmiesznie umotywowane. Są one bezsprzecznie pogwałceniem praw, tak jak agitacya między ludem żywiołów skrajnych jest pewnem tych praw wyzyskiwaniem. Ostatnie posiedzenie Koła polskiego w Wiedniu poświęcone było specyalnie obradom nad tą sprawą. Wszyscy mówcy wprawdzie przyznawali, że wolność zgromadzeń jest gwałconą, ale zgadzali się, że ruch ludowy, o którym mowa, jest szkodliwym, gdyż rozdmuchuje nienawiść klasową. Zgadzając się poniekąd z tym poglądem, nie mogę się jednak powstrzymać od uwagi, że ci, co ten sztuczny ruch potępiają, sami go wywołali niezaradnością swą, niedołęstwem, a najwięcej *brakiem dobrej woli*. Ksiądz Chotkowski, przemawiając w Kole polskiem, wspomniał, że kiedy zwoływał lud na sprawozdania poselskie, niektórzy marszałkowie powiatowi byli z tego mocno niezadowoleni. „Niedawne to czasy (są słowa tegoż księdza Chotkowskiego), kiedy duchowny, zabierający się do pracy około stowarzyszeń rzemieślniczych, uchodził za niebezpiecznego socyalistę“. Pan Lewicki żałował, że na zgromadzeniach ludowych słychać tylko głosy agitatorów — radby, aby te zgromadzenia odbywały się jak najczęściej, lecz aby na nich byli obecni ci, którzy razem z ludem pracują na zagonie, a dla niego w szkole i w kościele. Narzekał poseł Popowski, że inteligencya rzadko styka się z ludem. Poseł Piniński dowodził potrzeby informowania się o życzeniach włościan i należytego ich oświecania. Nie obawiał się ruchu chłopskiego ks. Kopyciński, ale domagał się, jak i poprzedni mówcy, aby inteligencya i duchowni brali udział w wiecaah i sami je zwoływali. I reszta mówców twierdziła toż samo. Ba, ale ci panowie umieją zawsze gadać i dobrych rad udzielać, ale kiedy przyjdzie do roboty, to ich nie ma. Kilku ludzi ruchliwych potrafiło zwołać w krótkim czasie kilkadziesiąt wieców ludowych, jeden ks. Stojałowski doprowadził ich parę set do skutku, a tymczasem całe duchowieństwo, cała „wysoka“ i mniej wysoka szlachta, cała inteligencya krajowa: konserwatywna i postępowa nie zdobyły się na zwołanie choćby kilku wieców. Czasem tylko który z posłów zwoła na lat parę raz jeden swoich wyborców, trochę zakadzi im a jeszcze więcej sobie oraz rozmaitym dostojnikom — i na tem kończy się cała styczność z ludem warstw wyższych i oświeconych. Ale na lamenty, narzekania stać zawsze tych „prawdziwych“ przyjaciół ludu. Czyż więc dziwić się można, że ta bezradność, ta gnuśność i niedołęztwo wydają dla nich gorzkie owoce? „Oj, przydałoby się lepiej, ale nie chce być“.

Albo teraźniejszy zjazd pedagogiczny w Wadowicach? Niedawne to czasy, kiedy nauczyciele wiejscy tłumnie dążyli na takie doroczne zjazdy i radzili o sprawach ważnych dla siebie i dla oświaty narodu. Ale moda przeminęła — na tegoroczny zjazd przybyła zaledwie mała garstka, a obrady jej były tego rodzaju, że doprawdy dziwić się należy, po co ci ludzie, często z dalekich stron, zjechali się. Czy dla tego, aby złożyć hołd i podziękowanie hr. Dzieduszyckiemu za to, iż ogłosił konkurs na monografie powiatów galicyjskich.

Hr. Włodzimierz Dzieduszycki, położył bez zaprzeczenia sporo zasług, cieszy się ogólnem uznaniem, dobrze zrobił, że konkurs ogłosił, ależ te kilkaset reńskich, które na niego przeznaczył, nie są znowu czynem tak wielkim, aby zjeżdżało się nauczycielstwo z całego kraju dla składania mu „hołdu i podziękowania". Nie potrzebowało też zjeżdżać nauczycielstwo dla dowiedzenia się, iż krakowskie Towarzystwo ubezpieczeń przyznało nauczycielom pewne ulgi przy ubezpieczeniach na życie, bo mogło się o tem dowiedzieć z okólnika, lub z pism krajowych, bo nie było poco aż za pomocą osobnej uchwały zjazdu stwierdzać, że umowa ta jest „korzystną", a raczej należałoby się zastanowić, zkąd biedni nauczyciele, niemający częstokroć na kawałek chleba, uposażeni gorzej niż woźni rozmaitych instytucyi, wezmą pieniędzy na ubezpieczanie się? Jedynym referatem, który mógł zająć przybyłych, był referat o przyszłych szkołach wydziałowych, ale nasuwa się uwaga, iż dopiero wydrukowanie jego w piśmie Towarzystwa zaznajomi ogół nauczycielstwa z tą sprawą. Poza tem cały zjazd pedagogiczny zeszedł na różnych czołobitnościach i wzajemnych podziękowaniach. Dziękowano ks. Jerzemu Czartoryskiemu, że jest prezesem Towarzystwa, dziękowano staroście Francowi, że raczył przybyć na posiedzenie, dziękowano posłom Czartoryskiemu, Rutowskiemu i Kramarczykowi za obronę praw stanu nauczycielskiego, dziękowano członkom zjazdu, że złożyli 116 złr. na gimnazyum polskie w Cieszynie. Wśród tych podziękowań nie miano czasu na dyskusyę nad sprawozdaniem zarządu Towarzystwa. Uchwalono wreszcie prosić sejm o polepszenie bytu nauczycieli ludowych i uznano wniesienie znanej w tej sprawie petycyi do rady państwa za rzecz nierozważną i szkodliwą. Oto i wszystko. „Przydałoby się więcej, ale jakoś nie chce być".

Słów tych nie mogą zastosować do siebie, a właściwie do swej kieszeni, przedsiębiorcy sezonowej opery w Krakowie — idzie im bowiem jak po maśle. Każde przedstawienie odbywa się wobec natłoczonej sali teatralnej. Powodzenie to zachęciło przedsiębiorcę teatralnego p. Pawlikowskiego do porozumienia się z dyrekcya teatru lwowskiego, co do utrzymywania wspólnej opery, któraby przez jesień cieszyła uszy Krakowian, a przez zimę radowała lwowskie organa słuchu. Cała trudność polega tylko na złożeniu odpowiedniego personalu. Przedsiębiorcy opery sezonowej byli w tem szczęśliwem położeniu, że skorzystali z bezrobocia wybitnych śpiewaków i śpiewaczek, którzy podczas lata nie byli nigdzie zaangażowani. Opera stała wymaga stałych sił, a chcąc postarać się o wybitne, potrzeba dobrze, a nawet bardzo dobrze zapłacić. Jest przytem obawa, iż dobra a więc kosztowna opera mogłaby wyrządzić krzywdę dramatowi. Ale nad tem nikt się nie zastanawia, bo czego chce dyrekcya, to jest świętem dla jej przyjaciół w dziennikarstwie. Wszystko, co robi, znajduje pochwałę i reklamę.

Najlepszym tego objawem były trzy jednocześnie napisane i wydrukowane olbrzymie artykuły w „*Przeglądzie Polskim*", w „*Czasie*" i „*Gazecie lwowskiej*", podnoszące genialność krakowskiej dyrekcyi. Zapewne, że nie ma rzeczy na świecie, któraby się komuś nie podobała — i najbrzydsza panna znajdzie swego rozgonnego wielbiciela. Są rozmaite gusta, a z niemi się łączą rozmaite przyjaźnie, wpływają na nie rozmaite interesa. Dla kogoś np. co przerobił „Lizystratę", najznakomitszym dyrektorem musi być ten, kto taką pornografię zdecyduje się wystawić na scenie, a więc nikt się też dziwić nie może, iż w „*Gazecie lwowskiej*" popuszcza ten ktoś cugle uczuciom swojej wdzięczności. Ale w artykułach, o których mowa, nietylko sadzono się na pochwały dla niedołęztwa, ale z kłamanem oburzeniem rzucono się na „potwarców" i „plotkarzy". Potwarcami tymi i plotkarzami mieli być korespondenci do pism zamiejscowych, donoszący o przebiegu dyskusyi teatralnej w radzie miejskiej. Pisali oni mianowicie: że na radzie ostro krytykowano działalność przedsiębiorcy i jego stosunek do gminy, że nawet padł głos, iż należałoby kontrakt z przedsiębiorcą rozwiązać. Wszystko to kłamstwo, potwarze, plotki, wołali autorowie trzech artykułów — a tymczasem była to najprawdziwsza prawda. Do takich więc sztuczek uciekają się przyjaciele dyrekcyi i „Lysistraty". Przydałoby się uczciwiej, ale jakoś nie chce być.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA BERLINSKA.

Dnia 16-go lipca.

(Sprawy wewnętrzne stronnictw politycznych: Hammerstein i „Kreuzztg". — Rösicke i narodowo-liberalni. — Program agrarny demokracyi społecznej.)

Armia to przecież przedmiot specyalnych zabiegów cesarza. W życiu politycznem i społecznem zapanowuje stopniowo cisza, każdy spragniony letniego spoczynku zbiera siły do zimowej pracy. W takiej chwili zwolnienia tętna życiowego na zewnątrz zanotować jednak trzeba fakty, które ciekawe rzucają światło na życie partyjne najważniejszych dziś stronnictw politycznych. W każdem stronnictwie są one odmiennej natury, a jedyny punkt porównania stanowi, iż zdarzyły się jednocześnie.

Przedewszystkiem więc sprawa Hammersteina. Niemcy nie miały dotąd swojej Panamy, ani Panamina, ale mają w tej chwili jej przedsmak. Baron Hammerstein, zbankrutowany właściciel ziemski, od 1881 r. faktyczny redaktor „Kreuzztg.", który dyskrecyonalną posiadał władzę rozporządzania jej funduszami, oskarżony został przez opinią publiczną o grube przeniewierstwo na sumę 125 tysięcy marek. Faktem jest również, że Hammerstein dopuszczał się systematycznych nadużyć jak np. to, że liczył za dostawę papieru znacznie więcej, niż płacił. Osobistości wybitniejsze, jak deputowany Kropatschek, usunąć się już dawniej wolały z redakcyi, aby nie stykać się z człowiekiem, który nie miał czystych rąk. Byłaby to wewnętrzna sprawa redakcyi, która się wszędzie zdarzyć może i która odbija się tylko na kieszeni akcyonaryuszów, gdyby to nie był Hammerstein. Dość jednak spojrzeć na twarz tego człowieka, aby zrozumieć, że to nie zwykły szwindler, ale potężna osobistość, której przedewszystkiem chodzi o władzę. Hammerstein był głową i przewodnikiem umysłowym i faktycznym konserwatywnego stronnictwa. Przez lat dziesięć toczył wojnę z Bismarckiem, wrogiem zaciętym gazety, który doprowadził do tego „Kreuzztg.", że nie miała wstępu na dwór. „Kreuzztg.", dokoła której grupowało się stronnictwo konserwatywne, stała zawsze po stronie reakcyi ekonomicznej, reprezentowała politykę kościoła, walczyła pod hasłami religii, porządku i tradycyi. Ścisłe stosunki partyi z jej redaktorem, który dziś posiada wszelkie jej tajemnice, wprowadziły ją na drogę antysemityzmu, ortodoksyi kościelnej i stawiania w pierwszym rzędzie interesów agrarnych. Dziś więc upadek Hammersteina jest moralnym policzkiem dla stronnictwa i jego moralnych haseł. Zawieść się na człowieku można, ale parę lat dziesiątków ulegać osobistości, która ostatecznie dopuszcza się ordynarnych nadużyć pieniężnych, to już nie omyłka, ale zaślepienie, do którego przyznać się ciężko. Nic też dziwnego, że hr. Finkenstein występujący w imieniu właścicieli gazety, starał się nie dopuścić do rozgłosu i rozprawy sądowej. Hammerstein zaś wyjeżdżał jakoby na kilkomiesięczny letni urlop, z którego nb. nie powróci i nie złożył dotąd mandatów swoich do sejmu ani parlamentu. Czy jednak ominąć będzie można skandal sądowy nie wiadomo. Bo oto korespondent „Frankfurter Journal"' który najwcześniej zwrócił uwagę na nadużycia Hammersteina, nazwany został przez niego oszczercą, teraz zaś wnosi do sądu skargę o obrazę i potwarz. Sprawa przeto dużo jeszcze ciekawego materyału rzucić może na pastwę publicznej ciekawości.

A oto stronnictwo narodowo-liberalne. Ma ono z czasów ostatnich tyle grzechów przeciwko kardynalnym zasadom swojego programu, że również radeby pokryć te zasadnicze kwestye milczeniem. Tymczasem deputowany z okręgu Dessau-Zerbst, dr. Rösicke, wybrany w 1893 r. przez stronnictwo narodowo-liberalne i poparty przez wolnomyślnych, składa mandat, oświadczając, że nie chce zawieść zaufania wyborców, a ze stronnictwem solidaryzować się już nie może. Ten bierny, a tak wymowny protest nie przypada do gustu narodowo-liberalnym, którzy starają się obrócić w śmieszność zbytnią drażliwość posła i wykazać, że jest ona tylko manewrem dla pozyskania większego zaufania wyborców. Nieuprzedzony obserwator przyznać przecież musi, że dr. R. postępował od początku jak człowiek zasad i honoru. Nie przyłączył się on bowiem do żadnego ze stronnictw parlamentarnych, a znajdując, że program narodowo-liberalnego stronnictwa stał się właściwie pustym dźwiękiem cofa się od publicznego życia. W piśmie, jakie dla usprawiedliwienia dr. Rösicke wystosował do wyborców, spotykamy nader ciekawą wiązankę faktów, które ilustrują jak odmiennemi drogami chodzą zasady i taktyka narodowo-liberalnych.

Stronnictwo to, które na chorągwi swej wypisuje liberalne hasła swobody gospodarczej i równoprawności, głosowało za ustawami podatkowemi, które starały się pewne gałęzie przemysłu opodatkować wyżej, a inne za to od podatków uwolnić, a więc za podatkiem tytuniowym, wódczanym i cukrowym. To jednak usprawiedliwionem być może chwilową konjunkturą gospodarczą, zasadniczego sprzeniewierzenia się zasadom dopatrzeć się w tem trudno. Ale narodowo-liberalni przedstawiciele warstwy, której przed innemi dogadzać się zdają panujące dziś w Niemczech stosunki monetarne, głosowali za wnioskiem zwrócenia się do zjednoczonych rządów w sprawie zwołania międzynarodowej konferencyi dwukruszcowców, co już jest grzechem głównym z punktu widzenia programu. Co gorsza zaś, nie wystąpili przeciwko wnioskowi Kanitza, który przecież wyraźnie skierowany jest przeciw liberalizmowi gospodarczemu. Pod jednym względem tylko narodowo-liberalni pozostali wierni politycznej swej tradycyi, ale w tem właśnie dr. Rösicke stanowczo się od nich różni: oto pragną oni zawsze nieograniczonej swobody dla kapitału, są więc przeciwni każdemu wnioskowi, który dąży do ochrony pracy. Tymczasem Rösicke pragnąłby swobody rozwoju, zarówno dla kapitału, jak i dla pracy, a więc nieograniczonego prawa stowarzyszania się dla robotników. Nie pochwala więc dążeń do stworzenia ustaw wyjątkowych, wiadomo zaś, że narodowo-liberalni byli duchowemi twórcami ustawy przewrotowej, odrzucili ją zaś dla tego, że w komisyi otrzymała cechy klerykalno-konserwatywne.

Oczywiście niemiły rachunek dla sumienia, które o program i zasady troneryi się przestało, i gdyby nawet ustąpienie dr. R. było tylko zręcznym manewrem, przyklasnąć mu należy gorąco.

Na zakończenie pomówmy o bardzo ważnym fakcie, który zaszedł wśród demokratów społecznych. Oto dziś ukazał się projekt zmiany programu stronnictwa, który poddany zostanie pod obrady najbliższego wiecu. Historyą programu odnieść należy do ostatniego wiecu demokratów społecznych niemieckich we Frankfurcie. Tu deputowany Vollmar podniósł kwestyą działania wśród ludu wiejskiego. Dotychczasowy program socyalistyczny głosił upaństwowienie ziemi jako cel ostateczny i prowadzenie gospodarki zbiorowemi siłami, w wielkich gospodarstwach, gdzie zaprowadzić by się dały melioracye, wyższa technika i racyonalny podział pracy. Program ten nie uwzględniający bieżących interesów drobnych właścicieli ziemskich nie przeciwdziałał wytwarzaniu się proletaryatu i po za ogólnemi hasłami solidar-

ności i głosowania powszechnego nie stwarzał dążeń, któreby ludowi wiejskiemu w demokracyi społecznej widzieć kazały przedstawiciela swych żądań.

Projekt dzisiajszy wypracowany został przez komisyą, która nowe punkta włączyła do dotychczasowego programu minimalnego politycznej roboty partyi. Stronnictwo przeto uniknęło rozłamu przewidywanego wśród przeciwników, którzy mieli nadzieję, że sprawy agrarne, przedstawiające dotychczas największy szkopuł teoretyczny, oddzielą zwolenników Vollmara od wiernych dawnemu programowi Liebknechta i Bebla.

We wstępie projekt zaznacza, że, dążąc do demokratyzacyi wszystkich instytucyi społecznych wśród państwa i gminy, stronnictwo żąda poprawy stosunków w przemyśle i rolnictwie, w handlu i środkach komunikacyi o ile możebnem to jest wśród dzisiajszego ustroju, obejmuje tedy pracujących we wszystkich gałęziach gospodarki.

W interesie ludności rolniczej postawiono następujące żądania: 1) Fachowe szkoły gospodarki wiejskiej, gospodarstwa wzorowe i stacye rolnicze, oraz kursa rolnictwa po wsiach. 2) Wobec dążności do zaprowadzenia wyłącznego podatku od dochodu i majątku, zniesienie wszelkich podatków gruntowych i od nieruchomości. 3) Zniesienie wszelkich przywilejów złączonych z własnością roku. Przysługują one zawsze własności większej, jak przywileje podatkowe, majoraty, prawa patronalne itd. stwarzając gorsze warunki bytu dla własności drobnej. 4) Utrzymanie i powiększenie obszaru własności publicznej, a więc dóbr ziemskich, należących do państwa i gminy i zamianę własności martwej ręki na dobra publiczne. W tem żądaniu widzimy poniekąd pierwszy krok ku upaństwowieniu ziemi, ale gospodarka na tych obszarach ma być pomocą dla drobnych rolników, gdyż projekt żąda, aby 5) ziemie publiczne oddawane były w dzierżawę związkom robotników lub drobnych właścicieli rolnych lub pojedyńczym rolnikom, którzyby zarządzali niemi pod nadzorem państwa lub gminy.

Programu dopełnia żądanie kredytu rolnego, rozszerzenie prawodawstwa robotniczego na robotników rolnych oraz upaństwowienie długów hipotecznych i obniżenie procentu od nich. Projekt ulegnie niezawodnie znacznym zmianom, zwłaszcza przytoczone przez nas na ostatku upaństwowienie długów hipotecznych musi być ściślej określonem, bo posłużyć by przedewszystkiem mogło interesom właścicieli większej posiadłości, której demokracya społeczna nie pragnie chyba zrobić podarku.

Jakkolwiek przecież wyglądać będzie opieka nad ludnością rolną, dowodzi ona jak daleko po za sobą pozostawiła demokracya społeczna stanowisko utopijne, przeobrażając się w przedstawicielkę aktualnych spraw niższych warstw społecznych.

S. Z. D.

Ze Szląska Polskiego.

(Niepoprawny. — Nieco więcej polskości. — Posądzenie „Katolika“. — Przyszła historya narodu polskiego. — Potrzeba uwzględnienia Szląska. — Prośba o polską historyę dla Szląska).

Częste potrącanie o sprawy „Katolika“ bytomskiego, i to w sposób niezawsze chlubę przynoszący najstarszemu temu pismu polskiemu na Szląsku, nasuwa obawę, że czytelnicy posądzą mnie o osobisty antagonizm. Jeżeli, mimo niebezpieczeństwa z tej strony grożącego nie mogę się ustrzedz krytyki wobec „Katolika“, to niechaj to będzie dowodem, że jestem w równej jak on mierze niepoprawny.

Pod datą 13 lipca 1895 r. donosi „Katolik“ w dłuższym artykule o założeniu, zadaniu i urządzeniu banku ludowego w Bytomiu, a kończy tak:

„Z polityką bank ludowy nie ma oczywiście styczności i dla tego bylibyśmy woleli, gdyby w „Gaz. Opol.“ z uciechy nad założeniem banku nie byli potrząsali pięścią przeciwko związkowi antypolskiemu. Pisali zgoła, że bank ludowy to odpowiedź na założenie związku antypolskiego. Tak nie jest, bank został założony właściwie 17 marca b. r, zatem zupełnie niezależnie od tej sprawy, nie wdaje się w politykę, nie chce brać za bary z antypolskim związkiem, tylko pragnie na mocy prawa uczciwie działać dla dobra swoich. Trzeba nam unikać przesady: w polityce ona niedobra, a w sprawach pieniężnych zgubna“.

To ma być niby odprawą dla „Gazety Opolskiej“, która za „Przeglądem Poznańskim“ donosiła o założeniu banku w Bytomiu już w czerwcu, podczas gdy w „Katoliku“ dopiero 13 lipca sprawa ta do druku dojrzała, mimo, że naczelny redaktor „Katolika“, p. Napieralski, jest przewodniczącym rady nadzorczej banku. Najciekawszem wszakże zdaje się być sumitowanie się „Katolika“, że wolałby on był, gdyby „*Gaz. Opol.*“ z uciechy nad założeniem banku nie była tak potrząsała pięścią przeciwko Hakatystom, ponieważ bank nie chce się brać za bary z antypolskim związkiem. Na cóż to obwijanie w bawełnę? Czytelnicy „Katolika“ byliby zaiste więcej zrozumieli z całej tej polemiki, gdyby ich organ im był doniósł krótko, że po rozważnem zastanowieniu się kolegium redakcyjnego, trwającem od 13-go marca do 13 lipca, t. j. równe 4 miesiące, rzeczone kolegium redakcyjne pospołu z zarządem i radą nadzorczą banku doszło do przekonania, iż bank z polityką nie ma styczności, a pragnąc i z Hakatystów jak najwięcej ciągnąć zysków przez udzielanie im pożyczek, zaleca ze względów koleżeństwa lojalność wobec tejże spółki. W postskrypcie zalecałaby się wzmianka, że i nawet „po polsku mówiący Szlązacy-katolicy“ mogą być członkami banku, co i podług ustaw H. K. T. jest dozwolone, a przez miłościwie nam panujących Niemców — owszem mile widziane.

Zdaniem więc „Katolika“ jest bank bytomski sprawą czysto prywatną kilku panów założycieli, a cały Szląsk i Polska, a z nią i „Gaz. Opol.“ są spółkami całkiem odrębnemi, którym nie wolno do swoich jakichś tam politycznych celów używać nazwy banku ludowego?

Więc zdaniem „Katolika“ bytomski bank nie jest odpowiedzią Polskiego Szląska na założenie związku H. K. T. na Szląsku, mimo, że pionierzy H. K. T. w Kluczborku n. p. odmawiają tamtejszemu Towarzystwu polsko-katolickiemu przyjęcia depozytu do miejskiej kasy oszczędności, radząc z obelżywą ironią depozyt ten raczej zanieść „do Polski“?

Zdaniem „Katolika“ więc przestały członków ludowego banku w Bytomiu obligować krzywdy polskości wyrządzane? Ogół inaczej sądzi. Bank bytomski zrozumie, że będąc polskim, ma i obowiązek występowania tam, gdzie potrzeba, wszędzie po naszemu, a i „Katolik“ może pojmie z czasem, że polskiemu pismu potrzeba do zbawienia obok wielu innych cnót chrześciańskich odwagi cywilnej i nieco więcej polskości.

Niewyraźne postępowanie „Katolika“ z konieczności budzi wśród ludzi ubliżające podejrzenia, których tu bliżej charakteryzować nie chcę, bo uważam je za nieuzasadnione.

Z wielkiem zainteresowaniem się wyglądamy tu zapowiedzianych „dziejów Polski ilustrowanych“ prof. dr. Sokołowskiego. Pomijanie Szląska Polskiego we wszystkich podręcznikach i historyach narodu polskiego jest oburzającem. Spodziewać się należy, że prof. dr. Sokołowski, ofiarując narodowi owoc swej pracy, braku tego uzupełnić nie zaniecha. Wszystkie dotychczasowe historye Polski, począwszy od Szujskiego, Morawskiego i Bobrzyńskiego aż do Chociszewskiego podręcznika historyi Polski są raczej historyami państwa lub Królestwa Polskiego, lecz żadne z tych dzieł nie zasługuje na nazwę historyi narodu Polskiego, na którą nas dotychczas nie stało.

Jest to zresztą nader zrozumiałą właściwością człowieka, że interesuje się w pierwszej linii swemi własnemi sprawami. A jakże żądać od Szlązaka większej znajomości historyi Polski, jeżeli on o własnych dziejach zaledwie wzmiankę tam znajdzie. Niemcy nas pod tym względem sumiennie wyręczają, koszlawiąc dzieje na swój sposób i wmawiając w każde dziecko szląskie, że Szląsk to kraj odwiecznie niemiecki. Inteligentniejszy Szlązak, czujący gorąco niesprawiedliwość i krzywdę nam przez Niemców pod tym względem wyrządzaną, jest bezbronny wobec wroga, ponieważ nie jest w stanie z polskich podręczników historycznych czegoś lepszego się dowiedzieć.

Granice kraju z czasów Chrobrego znikają porówno z odwróceniem odnośnej stronnicy naszych podręczników z przed oczu czytelnika i cofają się raz na zawsze do Warty i Prosny. Umysł mniej zaopatrzony w wiadomości historyczne, zkądinąd zaczerpnięte, gubi się w domysłach i kończy często swe studya nad historyą rodzimą niepocieszającym wcale dla swego i naszego poczucia narodowego domysłem, że Niemcy zjedli Pomorzan, Serbo-Łużyczan, Szląsk i że dziś nadszedł czas na przetrawienie Poznańskiego i Prus.

Jak bardzo Szląsk pragnie i potrzebuje polskiej historyi swej dzielnicy, to właśnie znowu w najświeższym czasie dostrzedz było można. „*Gaz. Opol.*“ ogłosiła w kilku numerach lekki szkic historyczny p. t. „Co każdy Szlązak z historyi swego kraju wiedzieć powinien“. Jakkolwiek ani szczupłe ramy tej pracy, ani krótki przeciąg czasu, w którym wykończoną była, nie pozwalał na więcej rzeczowe opracowanie przedmiotu, niemniej przeto można słyszeć zachwyt i uznanie dla autora i gazety, nawet ze strony najmniej inteligentnych czytelników, po których trudno się było spodziewać, że wogóle ważniejsze artykuły wstępne czytają lub rozumieją. W licznych korespondencyach wyraża lud prosty wdzięczność swoję za wyznanie prawd, które on sam jeden dotychczas nieświadomie w sercu swem chował.

Jak łaski i dobrodziejstwa dopomina się i doprasza Szląsk taniej, dla ludu przeznaczonej, polskiej historyi.

Chm.

Wystawa robót kobiecych
w Poznaniu.

Warszawski „Przegląd Tygodniowy“ zamieścił w nr. 28 interesującą, choć nie ze wszystkiem słuszną ocenę oddziału pracy kobiecej na wystawie poznańskiej. W przekonaniu, że krytyczne to sprawozdanie, odmienne od dotychczasowych referatów, a zawierające kilka zdrowych myśli ogólnych, może korzystnie oddziałać na kierunek działalności kobiet wielkopolskich, przytaczamy je w całości. Artykuł warszawskiego czasopisma brzmi:

„O ile cała wystawa jest prozaiczną, mało sobie zadaje pracy dla ukrycia swoich celów czysto utylitarnych, a względy naukowe i estetyczne ustępować muszą z drogi przed businessem, o tyle w dziale kobiet znajdujemy wyłącznie niemal rzeczy piękne, zbytkowne, wymagające rąk delikatnych, rozwiniętego poczucia piękna, znacznej ilości wolnego czasu, wreszcie ambicyi, która chce dobre świadectwo zaskarbić sobie u społeczeństwa.

Dział kobiecy nosi na sobie cechy owej dwoistości, na podstawie której wystawa powstała, rozpada się na niemiecki i polski. Zaczniemy od drugiego.

Dział kobiecy nie jest, niestety, wyrazem rozwiniętego ruchu na polu zarobku lub nauki, w którym odzwierciadlają się dążności kobiet tej dzielnicy i kierunek ich pracy. Dotąd kobiety poznańskie nie mają ogniska, do którego zbiegaćby się mogły ich usiłowania, niema bowiem ani jednego ogólno-kobiecego stowarzyszenia, (?) niema pisma, dokoła którego grupowaćby się mogły usiłowania jednostek. Wychodził wprawdzie dwutygodnik literacki dla kobiet, redagowany przez Teofilę Radońską, ale po dwóch latach musiano go zamknąć, gdyż redagowany był tak marnie, że nie odpowiadał swemu celowi. Są tu wprawdzie instytucye, podobne do warszawskich a utrzymywane przez prywatne siły kobiece, jak np. ogródki froeblowskie lub zakłady nauki przemysłu (np. p. Karłowskiej, gdzie uczą krawieczczyzny i bieliźniarstwa), ale są to przedsiębiorstwa, z któremi szersze dążności nie są dotąd związane.

Szersza działalność kobieca nosi aż dotąd cechy filantropijne, dokonywa się pod chorągwią katolicką i patronatem arystokracyi, a co najgorsze, że jest dotąd bardzo niedostateczną, pomimo opieki niebios i dobrze urodzonych protektorek.

Najważniejszem jest tu Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt, założone przez Bibiannę Moraczewską i hr. Kwilecką. Towarzystwo udziela stypendyów uzdolnionym dziewczętom. liczy dziś przeszło 1000 stypendystek, pobierających wprawdzie niewielkie kwoty, które przecież pomocą im być mogą. Najwyższem stypendyum jest 300 marek.

Drugie podobne stowarzyszenie powstaje obecnie z celem opieki nad pracownicami ręcznemi, wyszukiwania im zarobku i czuwania nad ich moralnością i hygieną. Oprócz tego, stowarzyszenie ma na celu założyć magazyn zbytu dla produktów ludowych.

Co do zakładów czysto filantropijnych, to przeważa wśród nich dążność do umoralniania nad czystem uczuciem miłosierdzia. Dążność to dość ogólna, jakkolwiek dobroczynność doszła już w wielu miejscach do wniosku, że najlepiej umoralnia przykład, a więc czynnikiem, oddziaływającym najskuteczniej, jest bezinteresowna i w szlachetny sposób ofiarowana pomoc.

Niezupełnie tą zasadą dają się kierować panie poznańskie, bo dobrze, że hr. Mycielska zakłada przytulisko św. Anny dla moralnego podniesienia dziewcząt, że powstają Magdalenki dla przyjmowania upadłych kobiet, ale istnieje zakład dla położnic. jedyny filantropijny (św. Elżbiety), w którym przyjmują tylko uczciwe mężatki. A co zrobić ze sobą mają uwiedzione dziewczęta, których przecież na poznańskim bruku niebrak, jak i na każdym innym? O ileż wyżej stanęły już kobiety niemieckie, które założyły w Berlinie liczne stowarzyszenie opieki nad prostytutkami, postawiły ten punkt na kongresie swoim w Monachium i przekonały ogół kobiet niemieckich, że te wydziedziczone w pierwszym rzędzie na opiekę zasługują!

Słów jeszcze parę o dobroczynnej działalności pań polskich w Poznaniu, bo pomimo wstecznego kierunku, jaki zdradzają niektóre instytucye. zapominać nie trzeba, że się tam coś robi.

Otóż Magdalenki, czyli Towarzystwo dobrego pasterza, liczą dopiero pierwszy rok istnienia i dotąd 18 pensyonarek, zajętych szyciem bielizny dla wojska. Dziewczęta otrzymują tu całe utrzymanie i mieszkanie, pomimo to przecież do swobody tęsknią i — jak mi mówiono — uciekają.

Pod opieką sióstr św. Józefa zgromadzono kobiety-kaleki, w liczbie 48, trudnią się one wyrobem koronek, których próbki znajdują się na wystawie.

Przytulisko dla podniesienia moralnego (a chyba i umysłowego?) poziomu dziewcząt liczy 36 dziewcząt, które uczą się prania i prasowania.

Nie wątpię, że panie poznańskie w różnych innych instytucyach filantropijnych udział brać muszą, ale te są najważniejsze — tak mnie przynajmniej informowały uprzejme dyżurne w oddziale kobiecym.

Wystawa, jak to już wyżej wspomniałem, robi przedewszystkiem wrażenie estetyczne: hafty, koronki, gobeliny (z paryzkiej fabryki gobelinów p. Rayskiej), aplikacye na suknie i aksamicie, makaty, ekrany, roboty kościelne, wypalanie na skórze, malowanie na drzewie i porcelanie, składają się na całość piękną, gustowną, bogatą, delikatną. Rzekłbyś, że zmartwychwstały czasy, w których kasztelanki w pałacach swoich, czekając na pięknych rycerzy, liczyć mogły ściegi i pielęgnować rączki, aby dość były delikatne do krosien i haftu. To też wystawa robi wrażenie dziwnie mało nowoczesne, jeżeli to nie będzie niegrzecznie wobec pań, powiem, że zapachniało mi tam myszką. I to nie od ich likierów i wódek. ustawionych w oddzielnej szafce, a jak się wyrażają znawcy, doskonałych, ale od tej estetycznej a tak mało produkcyjnej wytwórczości wielkich pań, albo pracownic, które z ich polecenia, dla nich, lub dla popieranych przez nie kościołów pracują.

O pracowitości Polek pono nigdy nikt nie wątpił, ale podnosiły się niekiedy wątpliwości i chyba dość słuszne, czy jest ona właściwie skierowaną.

Zresztą, nie mam bynajmniej zamiaru ganić, ani potępiać robót pięknych: przedmiot sztuki, czy wykonany pędzlem, czy igłą, będzie zawsze pięknym, ale dział kobiecy jest istotnie wystawą pracy dam. pracownice oddzielnej urządzać nie potrzebowały, ich wyroby w znacznej części znalazły się ot tam, wśród wszystkich innych, jako to: cygara i papierosy, ubrania gotowe, bielizna, produkty cukrownicze i t. d. Owego łącznika zaś, który łączy w społeczeństwach daleko posuniętych damy i pracownice: owych wspólnych celów i dróg, które dopiero wytwarzają kwestyę kobiecą, ani na wystawie, ani — jak się zdaje — w poznańskiem życiu, dotąd ani śladu.

Wystawa kobiet niemieckich, choć głos ogólny przyznaje jej niższość wobec polskiej, robi przecież wrażenie nieco więcej nowożytne. (?) Przeważają tu malatury i to bardzo ładne (?) robótek, dokonywanych igłą czy drutami, prawie niema. Przytem stowarzyszenie „Frauenschutz“, które prowadzi szkołę przemysłową, zajęło oddzielny pokój i wystawiło ubrania i bieliznę swych uczennic; dużo tu nazwisk polskich, a roboty, wszystkie użyteczne, na zbyt, jak się zdaje, przeznaczone.“ *D.*

Wystawa etnograficzna w Pradze.

Od dwóch przeszło miesięcy ze wszystkich zakątków ziem czeskich dążą tysiące ludzi do Pragi, na ten sam plac, gdzie w r. 1891 naród czeski złożył świetne dowody swej pracy stuletniej. Właśnie wówczas, podczas wystawy jubileuszowej, powstał projekt zorganizowania w roku bieżącym wystawy, któraby dała dokładny obraz życia ludu czeskiego. Projekt ten został z entuzyazmem przyjęty przez grono patryotów czeskich, którzy też rozpoczęli agitacyę wszędzie, gdzie tylko był grunt odpowiedni. W ciągu czterech lat prowadzono prace przygotowawcze, zgromadzano dane statystyczne, zbierano okazy, urządzano wystawy prowincyonalne, z których niektóre cieszyły się świetnem powodzeniem i liczyły odwiedzających na dziesiątki tysięcy. Etnografowie czescy mieli przed sobą zadanie bardzo niełatwe, ponieważ wystawa etnograficzna w tak olbrzymich rozmiarach była przedsięwzięciem dotąd wcale nieznanem, które wymagało wielkiej pracy i mnóstwa sił fachowych. Oprócz tego organizatorowie wystawy musieli pokonywać takie trudności, które nic wspólnego nie miały z techniczną stroną przedsięwzięcia. Klasa najbogatsza — szlachta prawie nie brała udziału w sprawie, która miała tak wybitne narodowo-czeskie piętno, ponieważ szlachta „czeska“ przedstawia pod względem narodowym żywioł bardzo daleki od wszystkiego, co czeskie.

Sfery rządowe zachowywały się względem wystawy wprost wrogo, a cała prasa niemiecka Czech z „Bohemją“ praską na czele prowadziła zawziętą agitacyę, tak przeciwko samej wystawie jak przeciwko jej organizatorom z iście teutońską zaciekłością, nie szczędząc ani oszczerstw, ani insynuacyi, ani donosów.

Wszystko to jednakże nie złamało energii inicyatorów wystawy, którzy pracowali niezmordowanie i dopięli tego, że jest ona prawdziwym dowodem niezwykłej energii, przedsiębiorczości i siły kulturalnej narodu czeskiego. Obecnie sami Niemcy w wielkiej liczbie uczęszczaja na wystawę, a namiestnik Czech, hr. Thun, pierwotnie jeden z największych wrogów wystawy, jest codziennym jej gościem.

W istocie wystawa jest bardzo interesującą i to nietylko dla fachowców-etnografów, ale i dla szerszego ogółu zwiedzających. Wystawa zajmuje ogromny plac, na którym mieściła się również i wystawa jubileuszowa r. 1891, przyczem niektóre pawilony, z bardziej trwałego materyału wzniesione, których nie zburzono po zamknięciu wystawy jubileuszowej, mieszczą obecnie główną część wystawy etnograficznej. W dawnej hali przemysłowej znajdują się główne zbiory etnograficzne. Widzimy tu, jak ubiera się, pracuje, bawi się i weseli lud wszystkich zakątków Czech, Moraw, Szląska i Słowaczyzny. Bardzo umiejętnie wykonane manekiny przedstawiają nam typowe sceny z życia ludu wiejskiego i miejskiego. Oto grupa dziewcząt, które zgromadziły się przy wspólnej pracy; dalej kilka parobczaków-Morawian dziarsko wycina hołubce; tu grupa przedstawiająca zrękowiny, tam kilku chłopów starszych gwarzy spokojnie przy winie, paląc długie fajki. Pośród ogromnej sali kilkadziesiąt malowniczo wystrojonych manekinów „oprowadza króla“ (gra wiejska). U drzwi stoi nadzwyczaj naturalnie wyglądająca staruszka, która ofiaruje zwiedzającym kromkę chleba, tylko co naciętego....

Niezmiernie bogata kolekcya haftów i wyszywań ludowych, zbiór różnobarwnych pisanek, modele zabudowań i zagród chłopskich, różne sprzęty, naczynia itd. — oto, co zawiera dział etnograficzny wystawy. Dla etnografa to niewyczerpana skarbnica. A wszystko to ma charakter tak rozmaity, jak rozmaitym jest charakter samego ludu czeskiego i słowackiego.

Hanak morawski tak mało jest podobny do Czecha z Liberca jak ten ostatni do Szlązaka czeskiego; Czech z południa ma dość mało wspólnego z Czechem z północy, a jeszcze mniej z Wołochem lub Morawianinem. O Słowakach nie ma co mówić. Przedstawiają oni typ kulturalno-narodowościowy całkiem samodzielny i odrębny od Czechów. Wówczas kiedy w Czechach lub głównych ogniskach przemysłowych Moraw pieśni ludowe, zwyczaje, wierzenia, stroje coraz bardziej są wypierane przez nowe warunki życia, — w rolniczych okręgach Moraw, a jeszcze bardziej w górskich zakątkach Słowaczyzny cały układ życia ludu zachował jeszcze bardzo dużo starodawnego i nawet pierwotnego charakteru. Wszystko to zostało uwypuklone na wystawie.

Najbardziej zajmującem dziełem wystawy jest wieś, wzniesiona na znacznej przestrzeni. Wchodząc do wsi, słyszymy zmieszane dźwięki najróżnorodniejszej muzyki. Oto przed wrotami karczmy siedzi „dudek“, wygrywający na kobzie piskliwo-monotonne dźwięki. Z zagrody wołoskiej dolatują tony oryginalnych pieśni i tańców, wygrywanych przez kapelę wołoską. Gdzieś dalej śpiewa cały chór. Po placu wioskowym snują się tłumy zwiedzających i zaglądają ciekawie do każdej zagrody, do każdej chałupy. Wewnętrzne urządzenie tych ostatnich przedstawia nam dokładną kopię wnętrza chałup chłopskich Czech, Moraw, Szląska i Słowaczyzny węgierskiej. W każdej chałupie mieszka rodzina chłopów, sprowadzona z tej miejscowości, jaką ma dana chałupa reprezentować na wystawie. Wszyscy noszą się tak jak w domu, nie zmieniają nawet rodzaju swych zajęć. Oprócz zagród chłopskich jest na wystawie: „rychta“ (dom zarządu gminnego), i młyn i kuźnia i chata rybacka nad małym stawkiem, i nawet prawdziwy kościółek wiejski, zwracający powszechną uwagę swą oryginalną strukturą.

Wieś na wystawie nie sprawia wrażenia zwykłego okazu wystawowego. Jest to prawdziwa wieś, pełna życia i ruchu. Wieczorem w największej zagrodzie wołoskiej odbywają się tańce z towarzyszeniem kapeli wołoskiej, niezbyt co prawda melodyjnie, ale oryginalnie wygrywającej.

Na przeciwległym końcu wystawy znajduje się t. zw. „dawna Praga“. Jest to jeden z placów praskich, przedstawiony tak, jak wyglądał w końcu w. XVI. Widzimy tu cały szereg kamienic naturalnej wielkości, zbudowanych tak umiejętnie, że tylko zupełnie z blizka można spostrzedz, że te „kamienice“ wzniesiono z desek i pomalowano. Kamienice te są pokryte różnemi freskami, napisami, figurami i godłami, a w każdej z nich znajduje się jakiś zakład dobroczynny, gdzie się można pokrzepić piwem, winem, kiełbaskami i t. d.

W licznych pawilonach, porozrzucanych na obszernym placu, znajduje się mnóstwo materyałów, ilustrujących życie czeskie wogóle. Różne tablice i dyagramaty zawierają ciekawe dane statystyczne. Utwory archeologiczne, kolekcye broni starożytnej, dawnych widoków

Pragi i innych miast czeskich przenoszą nas w przeszłość narodu czeskiego. W dziale literackim (niezmiernie ciekawym) widzimy tablice, które w sposób poglądowy przedstawiają wzrost literatury czeskiej. Ogólną uwagę zwracają też pokoiki i pracownie wybitnych pisarzów czeskich. I szkolnictwo i przemysł czeski — wszystko to znalazło uwzględnienie na wystawie, więc kto chce w krótkim czasie poznać zewnętrzną przynajmniej stronę życia czeskiego, niech jedzie do Pragi, a z pewnością tego nie pożałuje, tem bardziej, że i życie w Pradze jest bardzo tanie.

Leon Wasilewski.

NA WYŁOMIE.

(Bojko.)

Z chaosu tłumnych, na krótkiej przestrzeni czasu i miejsca nagromadzonych wrażeń, pamięć ludzka przechowuje zwykle tylko jakiś ogólny kamerton i zasadniczą barwę obrazów. A oprócz tego pozostaje tam często jakiś jeden niezatarty szczegół, oderwany z całości i przeniesiony z całą świeżością i siłą na mózgowe klisze. Myśl zawsze do niego powraca; — gdy ktoś poruszy wspomnienia, on pierwszy zjawia się i mówi: „Jestem!“

Przypominam sobie z przed laty wielką uroczystość narodową, z szeregiem mów, tłumem owacyi i tysiącami blasków teatralnych. Wszystko to już zapłynęło w pamięci — zostało tylko głuche wspomnienie szumu i wielkich uniesień, a ponad tem przygasłem uczuciem jakaś czarno ubrana, blada kobieta z dzieckiem na ręku, która przy dźwiękach hymnu „Boże coś Polskę“ zbliżyła się do mnie i szepnęła z ogromną pokorą i ogromną wiarą: „On wziął, on wróci“. Tego głosu i tych ócz głębokich a smutnych nie zapomnę nigdy.

A dziś, gdy rozpamiętuję świeże dzieje pobytu galicyjskich gości na poznańskim bruku, zdaje mi się, że takim silnym, niezatartym momentem, takiem wspomnieniem, którego wicher czasu nie zmiecie, pozostanie dla wielu z nas Bojko, chłop galicyjski. Stał tam wśród setek inteligencyi na uczcie poniedziałkowej w swej malowniczej guni góralskiej, a potem na wieczornicy sokolskiej przed zbitym, różnobarwnym tłumem i zdawał nam się zwiastunem nowej epoki, nowego życia i wielkich przeobrażeń społecznych. Głos jego niewielki, bez dźwięków metalu i monotonny nieco, ale jest w nim taka siła granitowego przekonania, że przed nią korzy się słuchacz. Styl jego prosty, bez efektownych barwników i srebrnych dzwoneczków, ale błyszczy tam owa obrazowość ludowa, czerpiąca porównania i analogie swoje z wielkiej skarbnicy przyrody i szarego życia. Opromienia go zdrowie i spokój wsi polskiej, — w mowach nie dźwięczy nuta wzruszeń nerwowych, nie lśni błyskotliwość retorów miejskich, — myśl rozwija się prawidłowo, bez konwulsyjnych ruchów i skoków, a nieraz w formie obrazów prostych i świeżych z taką plastyką staje przed słuchaczem, że dźwięki i pojęcia w rzeźbę się zmieniają. Jest to w swoim rodzaju artysta wiejski, a dla psychologa dziwnem jest mianowicie, że Bojko posiada wysokie gimnazyalne wykształcenie, które w synach chłopskich zaciera zwykle pierwotną oryginalność i świeżość ludową. Tu przechowała się ona nietknięta, a wpływy szkolnego życia znać chyba w pewnej dystynkcyi i okrągłości ruchów, rzadko tylko spotykanych u ludu. Styl ducha pozostał chłopskim, choć myśl pogłębiona i szersza.

Chciałbym powiedzieć, że Bojko jest typem galicyjskiego włościanina i z słowem tem skojarzyć drugie: Szczęśliwa Galicya! — ale chłop ten to jeden z najlepszych, to wzór wyjątkowy, przewyższający o całą głowę warstwę, z której wyrósł i której pozostał wiernym. Wyposażony niezwykłą bystrością umysłu i wykąpany w krynicach wiedzy, mógł on naukę i talent spieniężyć korzystniej, mógł wstąpić na wyższe szczeble społeczne i sięgnąć po błyszczące zaszczyty, a przecież chłop ten nie opuścił posterunku swego, nie porzucił sukmany chłopskiej, ni chaty, ni pługa, i on, dziecko ludu, jest dzisiaj ojcem, nauczycielem i apostołem wśród braci. Trzeźwy przedstawiciel rozumnej emancypacyi chłopskiej, nietylko miłuje, ale zna jak nikt inny charakter i potrzeby ludu swojego. Daleki od wszelkiego doktrynerstwa i jednostronnego radykalizmu spogląda na posłannictwo „wydziedziczonych“ okiem patryoty sprawiedliwego i obejmującego szersze widnokręgi społeczne. Chłopomania chłopu temu jest obcą, a gdy dźwięki jej ozwały się na wieczornicy sokolskiej w Poznaniu, Bojko sam sprowadził je do właściwej miary, wołając głośno, że „na czele narodu chłopi kroczyć nie myślą, lecz nie pójdą także pod szlachtą, jeno obok szlachty“. I nie jest ta myśl demokratyczna u Bojki frazesem wykradzionym z książek i dzienników, a wysyłanym tak często przez deklamatorów-ludowców jako błyszczący „nom de guerre“ na arenę polityczną — myśl ta u niego jest zwartym, w praktyczne formy ujętym, do warunków przystosowanym i taktycznie wyostrzonym programem. Bojko zna dokładnie historyę Polski, zna dążenia Staszyca i ewolucyę czeską, a w demokratyzacyi społeczeństwa nie upatruje interesu warstwy, lecz interes narodu. Słuchając słów jego, elektryzujących swą głęboką wiarą w posłannictwo ludu, trudno się oprzeć wrażeniu, że stoi przed nami zwiastun nowego życia i nowej ojczyzny, opartej na szerokiej podstawie demokratycznej, — większej, bo zbudowanej na milionach nowych obywateli i ułatwiającej porozumienie z chłopskim narodem Rusinów i innych szczepów słowiańskich.

Tej idei poświęcił Bojko całe życie swoje. Jest to jeden z najdzielniejszych szermierzy demokratycznych, jeden z najruchliwszych i najzręczniejszych współpracowników lwowskiego „Przyjaciela ludu“. Wyklęty kilkakrotnie przez królików galicyjskich, potępiony przez księży, ścigany przez starostów, nie uląkł się dzielny apostoł żelaznej falangi przeciwników swoich i stoi nieugięty, żadną nie złamany klątwą, żadną nie zgłuszony amboną. Opowiadano mi interesujący epizod z występów śmiałego działacza i publicysty na poznańskim gruncie. Ktoś z naszych gasicieli ruchu ludowego ostrzegał w obecności Bojki przed wyklętemi pismakami.

— Czytajcie — zwiastował głosem apostolskim — poznańskiego „Przyjaciela ludu“, bo ten wasz „Przyjaciel“ we Lwowie, to burzyciel i anarchista.

Bojko się uśmiechnął, rozumne oko jego zajaśniało dumą i ogniem, a po chwili tak mówił:

— Skoro ja Panu powiem, kim jestem to może mi Pan ręki nie poda, ale ja tam się tego nie wstydzę. Jestem Bojko, jeden z stałych współpracowników „Przyjaciela ludu“ — tego wyklętego we Lwowie! To moje pismo i mój program, którego się nie wypieram i którego przed całym światem bronić będę.

Tak mówił ten prosty włościanin, bez afektacyi, bez teatralnego patosu, lecz z tą siłą płynącą z głębokiej wiary w świętość przekonań swoich. Jakże bladym i marnym wobec tej uczciwej odwagi chłopskiej jest tłum rzekomych postępowców naszych, który w zaciszu własnego domu, w ciasnem kółku familijnem przyznaje się do liberalnych i demokratycznych programów, a publicznie, przybrany w maskę konserwatywną, zapiera się przekonań swoich dla wysokich protekcyi, dygnitarskich obiadów i zysków materyalnych!

Cóż na to „Kuryer Poznański?“

Nie dziwcie się, — znalazł on pałkę dla Bojki. Wyszydził mowy jego, napiętnował szermierza ludu i zakończył rozpaczliwym okrzykiem:

„Takich to przedstawicieli wzajemnej miłości przysłała nam Galicya!“

I oto stał się fakt dziwny. Pogardliwem mianem „żydowskiego organu“ tylokrotnie zaszczycona „Posener Zeitung“ stanęła w obronie gościa poznańskiego i pod adresem „Kuryera“ wystósowała nauczkę o takcie.

Kapłani polscy! Jakiż to organ mianuje się reprezentantem waszym!

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Album współczesnych poetów polskich. Ruchliwa „Księgarnia Polska“ we Lwowie, która dała nam w ostatnich czasach takie wspaniałe wydawnictwa, jak Mickiewicza, Słowackiego i Szekspira, przygotowuje na jesień album współczesnych poetów polskich. Wydawnictwo to, którego redakcyą zajął się Jan Kasprowicz, obejmie ostatni okres poezyi polskiej. (Od roku 1863 do 1895.)

*

Quo vadis? — najnowszą powieść Sienkiewicza, osnutą na tle czasów Nerona — drukuje obecnie w tłomaczeniu niemieckiem wiedeński „Fremdenblatt“.

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne.** Utrzymuje się uporczywie pogłoska, że ks. Ferdynand zamierza ustąpić z tronu bułgarskiego. — Hiszpanom na Kubie powodzi się niepomyślnie. Marszałka Camposa osaczyli z trzech stron powstańcy. Niebawem przyjść musi do walnej bitwy. — Wybory w okręgu międzyrzecko-babimojskim skończyły się zwycięstwem Niemca-konserwatysty. Rezultat głosowania wykazuje jednak znaczny przyrost głosów polskich. — Górnicze miasto Brix, po czesku Gniewin, nawiedziła straszna katastrofa. W skutek przerwania się w kilku miejscach t. zw. kurzawki (piasek pływający) zapadło się kilkadziesiąt domów. Potworzyły się olbrzymie czeluście, wybuchły pożary, wielu ludzi zginęło, wielu straciło cały dobytek. — Drezno zamierza wystawić pomnik Bismarckowi, Monaster zmarłemu br. Schorlemerowi z Alst.

*** Teatr i muzyka.** Tenor bohaterski p. Bandrowski zaangażowany został do teatru La Scala w Medyolanie. — W Neapolu zyskał wielkie powodzenie nowy dramat Bovia p. t. „Sanct Paul“. — Występy Mieczysława Frenkla na lwowskiej scenie cieszą się wielkiem powodzeniem. — W Berlinie powstać ma wielkie przedsiębiorstwo teatralne łączące w sobie operę, dramat, farsę i komedyę. Na scenie olbrzymiej znajdą zastosowanie najświeższe wynalazki dekoracyjne, aparaty optyczne i maszynerye. W gmachu projektowanym założone zostaną kawiarnie i składy eleganckie, a oprócz tego zaprowadzą przedsiębiorcy takie urządzenia, że zamknięte audytoryum zamienić można w kilku minutach na otwarty teatr letni. — P. Adam Staszczyk, autor „Nocy Świętojańskiej“, złożył dyrekcyi teatru krakowskiego 4-aktowy obraz sceniczny p. t. „Filareci“, osnuty na tle historycznem z czasów Mickiewiczowskich w Wilnie. — Konkurs na operę. Za przykładem Sonzogna, ogłosiła śpiewaczka angielska, panna Fanny Moody, wespół z p. Manners konkurs na jednoaktową operę angielską, wyznaczając za najlepszą 100 ft. szt. nagrody. Otrzymał ją młody, 23-letni kompozytor szkocki, Mac Lean, za operę „Petruchio“, do której libretto napisała młodsza jego siostra. O utworze tym, wystawionym w teatrze „Covent-Garden“, pisze krytyka, że zarówno pod względem muzyki jak i treści jest niezbyt udolnem naśladownictwem „Rycerskości wieśniaczej“. Panna Moody wykonała główną rolę kobiecą. Największej oklasków zyskała — Patti, która wprowadzona przez sir Augusta Harrisa na scenę, wręczyła osobiście nagrodę rozpromienionemu kompozytorowi.

Garść myśli. Niektórzy zaczynają wtedy dopiero mieć honor, gdy widzą, iż są pod tym względem zakwestyonowani.

Jak bogatymi moglibyśmy być, gdybyśmy we wszystkiem byli tak oszczędni, jak w — dobroczynności.

Zbytkowość ubogich jest często bardziej wzruszającą, aniżeli ich nędza.

Modlitwa ubogich jest prośbą, zaś modlitwa bogatych — pokwitowaniem.

Każda moda jest dwa razy śmieszną: na początku i przy końcu.

Są serca, którémi można krajać dyamenty.

Zmarli:

*** Rudolf Gneist**, jeden z najwybitniejszych prawników niemieckich, zm. 22 lipca w Berlinie.

*** Zbigniewa Zmorska**, utalentowana powieściopisarka, zm. w Warszawie przed kilku dniami.

Odpowiedzi Redakcyi.

Kaprysik. Krążą istotnie wieści po mieście, że panna Zimajer i p. Rapacki oraz p. Sosnowski już do poznańskiego teatru nie powrócą. Ile w tem prawdy, nie wiemy. Nie przypuszczamy jednak, by dyrekcya miała się pozbywać ulubieńców publiczności bez nader ważnych powodów, a takich nie ma dotychczas.

Józefowi. Słowo „okultyzm“ nie oznacza osobnej gałęzi spirytyzmu, lecz obejmuje wszystkie t. zw. nauki tajne lub nierządowe, a więc chiromancyę, astrologię, spirytyzm, wróżbiarstwo i t. d.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 31. Poznań, Niedziela 4. sierpnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Kwestya rolnicza w środkowej Europie.

I.

Niema dziś bodaj, z wyjątkiem chyba francuzkich dzienników, ani jednego pisma na europejskim kontynencie, któreby raz przynajmniej nie zabierało głosu w sprawie szerzącego się obecnie kryzysu rolniczego. Ale bo też to kwestya bytu lub niebytu dla całej dzisiejszej gospodarki narodowej. A co więcej, jest to sprawa po dziś dzień nierozwiązana.

Wobec tego sądzimy, że nie nadużyjemy cierpliwości czytelników „Przeglądu“, gdy i my wypowiemy słów parę, w kwestyi poruszonej w Nr. 26 i 27 przez kolegę: „I. B. M.“, a to tem bardziej, że dla naszego, na wskroś niemal rolniczego kraju, kwestya agrarna posiada jeszcze większe niż dla innych narodów znaczenie.

Jak to już czytelnicy nasi mogli się przekonać z artykułu: „Przesilenie ekonomiczne w rolnictwie i wniosek hr. Kanitza“, istnieje dziś cały szereg projektów rozwiązania kwestyi rolniczej. Nie brakło ani profesorów uniwersytetów, ani deputowanych do parlamentu i sejmu, ani wreszcie osób prywatnych w szeregach wynalazców nowych sposobów, ku zażegnaniu panującego w europejskim rolnictwie przesilenia.

Planów więc rozstrzygnięcia kwestyi agrarnej dość mamy. Lecz wszystkie one grzeszą kardynalnym błędem: Brak im bowiem niezbędnego teoretycznego fundamentu. Nowożytna kwestya rolnicza nietylko nie jest nierozwiązaną, lecz co gorsza, nie jest dotychczas zrozumianą. Dedukują się dziś najprzeróżniejsze praktyczne polityczno-ekonomiczne wnioski z takich postulatów teoretycznych, które, być może, niegdyś formułowały słusznie istniejący stan rzeczy, lecz dziś posiadają jedynie wartość historyczną.

Wszystkie niemal dotychczasowe teorye renty gruntowej, cen ziemi i produktów rolniczych, zgadzają się, z wyjątkiem niektórych okolicznościowych koncepcyi szkoły manchesterskiej, posiadającej dziś jeszcze swych zwolenników we Francyi, na twierdzenie, że ceny wytworów rolniczych równają się kosztem ich wytwarzania na najgorszych gruntach.

I wszystko jedno, czy dany ekonomista sądzi wraz z Ricardo, że produkcya rolnicza w rozwoju swym przechodzi od lepszych do gorszych gruntów, czy też mniema on za przykładem Carey'a, że naprzód brane są pod uprawę gorsze ziemie, a później dopiero wydajniejsze — w każdym razie wierzy on święcie, że produkcya agrarna i ilość poddanych kulturze gruntów wzrasta o tyle tylko, o ile zwiększa się zapotrzebowanie na wytwory rolnictwa. Ztąd zaś wnioskuje on w dalszym ciągu, że społeczeństwo musi dostatecznie wynagrodzić wszystkich bez wyjątku wytwórców produkujących zarówno na najgorszej jak i na najurodzajniejszej glebie, inaczej bowiem właściciele mniej wydajnych gruntów zarzuciliby produkcyę i naród pozostałby bez chleba. Że zaś na rynku każdy korzec zboża jest równy wszelkiemu innemu korcowi zboża, gdy tylko jakość ich jest identyczną, więc też i cena ich musi być jednaką, niezależnie, czy na lepszych, czy na gorszych gruntach były one wytworzone. 10 korcy pszenicy zebrane na mordze pierwszorzędnej gleby będzie posiadać tę samą cenę, co 10 korcy wytworzonych na dwóch morgach pośledniejszej ziemi. Że zaś i właściciel najgorszego gruntu musi wyjść na swojem, cena więc zarówno pierwszych, jak i drugich 10 korcy pszenicy musi pokryć koszta uprawy owych dwóch morgów gorszego gruntu.

Całe to rozumowanie jest bezsprzecznie logiczne i słuszne — lecz tylko wtedy, gdy przyznamy racyę założeniu, że produkcya rolnicza wzrasta w miarę zapotrzebowania.

W początkach bieżącego stulecia twierdzenie to nie było pozbawione słuszności. Rynkiem zbytu był przeważnie kraj własny, jeśli nie najbliższa nawet okolica. Handel zbożem nie stanowił jeszcze przedmiotu wielkich spekulacyi; pszenica, żyto, kartofle nie figurowały jeszcze w transakcyach wszechświatowego rynku, a co najważniejsza, produkcya rolnicza nie podpadła była jeszcze pod panowanie wielkiego kapitału.

Dziś stan rzeczy zmienił się gruntownie.

Z rozwojem nowoczesnej gospodarki kapitalistycznej zasadniczo zmienił się handel, z dniem każdym koncentrując się coraz bardziej, rozszerzając teren swych operacyi i coraz wyraźniej przybierając charakter spekulacyjny. Rynek stał się z krajowego wszechświatowym, a równocześnie z miejsca wymiany różnorodnych użyteczności a jednorodnych wartości towarów przedzierzgnął się w olbrzymią giełdę, gdzie walorami — istniejące i oczekiwane dopiero towary, a grą giełdową — transakcye handlowe. I los ten spotkał wszelkie niemal gałęzie i rodzaje handlu. Kapitalizm po dziś dzień nie opanował jeszcze całkowicie produkcyi rolniczej, lecz handel wytworami rolnictwa — musiał się jeden z najpierwszych poddać nowym, przezeń stworzonym wymogom.

Nie pozostało to bez poważnego wpływu na samąż produkcyę rolniczą. Poczęła ona coraz wyłączniej wytwarzać dla rynku wszechświatowego, a tem samem została zniszczoną dawna harmonia, która między zaofiarowaniem a zapotrzebowaniem istniała. G d y p o p r z e d n i o p o p y t r e g u l o w a ł p o d a ż, d z i ś p o d a ż i p o p y t s t a ł y s i ę c a ł k i e m r ó w n o w a ż n y m i c z y n n i k a m i, w z a j e m n i e o d d z i a ł y w u j ą c e m i n a s i e b i e; ż a d e n z n i c h n i e j e s t p i e r w o t n y m, a n i t e ż w t ó r n y m. Produkcya rolnicza prowadzi się dziś na oślep, bez dokładnej znajomości rynku, tak samo, jak i produkcya fabryczna.

Niektórzy z najnowszych ekonomistów zrozumieli fakt ten co prawda, lecz skonstatowawszy go, pospieszyli zbyt powolnie wygłosić twierdzenie, że stosunki rolnicze niczem się zasadniczo od przemysłowych nie różnią, że rozwój ich zatem, tak samo jak w dziedzinie produkcyi fabrycznej, do coraz większej koncentracyi kapitałów prowadzić będzie, przyczem przedstawiają oni Amerykę jako krainę własności wielkiej, Europę zaś zwą ziemią drobnych i i średnich parceli.

W rzeczy samej istnieje bynajmniej niemało ważna różnica między obu temi rodzajami gospodarczej działalności narodów. Polega ona przedewszystkiem na tem, że kapitały, umieszczone w rolnictwie, są znacznie mniej ruchome od kapitałów przemysłowych.

Składa się na to kilka przyczyn. Pierwsza i najoczywistsza z nich, to owa techniczna różnica, jaka zachodzi między narzędziami i materyałami pracy, używanemi w rolnictwie a przemyśle. Gdy te ostatnie dadzą się w części przynajmniej zastosowywać do różnych gałęzi przemysłu, a w ten sposób wycofywać z jednej i przenosić do innej, — maszyny robocze, budynki gospodarcze, a tem bardziej ziemia jedynie do produkcyi rolniczej służyć mogą.

Druga, ważniejsza jeszcze bodaj przyczyna — to odmienny stosunek kapitału stałego i obiegowego, a także różny ich skład wewnętrzny na wsi i w fabryce.

W rolnictwie bowiem kapitał obrotowy składa się niemal wyłącznie z płacy najemnej, w niewielkiej zaś tylko części z kosztów zakupu i naprawy narzędzi rolniczych, gdyż nasiona, inwentarz i pasza to produkty samegoż gospodarstwa. W przemyśle natomiast do kosztów najmu przyłącza się olbrzymi wydatek na materyał produkcyi, jako to: na bawełnę, węgiel, koks, rudę żelazną etc. Tak więc kapitał obrotowy nietylko jest c e t e r i s p a r i b u s jakościowo mniej złożonym, lecz ilościowo mniejszym w rolnictwie niż w przemyśle.

Odmiennie rzecz się ma z kapitałem stałym. Cena gruntu, jak to w swym czasie wykazał Rodbertus, jest tylko skapitalizowaną rentą

gruntową. Dla większej jasności wytłomaczymy twierdzenie to na przykładzie.

Przypuśćmy, że pewien majątek ziemski daje 10,000 marek rocznego dochodu netto, że kursująca stopa procentowa jest 6 proc., że kapitał obrotowy wynosi 10,000 marek. W takim razie procent od kapitału obrotowego wyniesie 600 marek. Pozostałe 9400 marek zwiemy rentą gruntową. Cena zaś ziemi wyniesie — 156 666(6) m.

6 : 100
9400 : x
x = 156,666 . . . (6)

W praktyce wszakże daje się zawsze zauważyć pewne uchylenie od tej reguły Rodbertusa. Procent mianowicie, na zasadzie którego dokonywuje się kapitalalizacya renty gruntowej niższym jest od ogólnie kursującej stopy dochodowej, a to ponieważ lokacje w ziemi pewniejsze są, niż jakiebądź inne, czy to w papierach wartościowych, czy też w przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych. Że tak jest a nie inaczej w rzeczy samej widać choćby ztąd, iż procent dochodowy w rolnictwie niższym jest niż w innych gałęziach produkcyi.

Jakiż ztąd wniosek? spróbujmy wykazać go znów na przykładzie.

Przypuśćmy, że pewne przedsiębiorstwo przemysłowe posiada 156,666(6) m. kapitału stałego i 10,000 m. kapitału obrotowego. Stopa zaś dochodowa jest 6 proc. W takim razie suma dochodu netto danego przedsiębiostwa równać się będzie 10,000 m.

Weźmy teraz majątek ziemski, obracający rocznie 10,000 m. kapitału, zwykła stopa procentowa wynosi również 6 proc. W takim razie renta gruntowa równać się będzie 9400 marek. Lecz kapitalizować się będzie ona już nie na zasadzie 6 proc., jeno 4 proc. A w takim razie cena ziemi, czyli kapitał stały majątku równać się będzie 23,500.

4 : 100
9400 : x
x = 235,000

Widzimy zatem, że ceteris paribus kapitał stały przedsiębiorstwa przemysłowego mniejszym będzie od kapitału stałego majątku ziemskiego o (235,000—156,666 = 78,334 marek. Poprzednio wszakże powiedzieliśmy już, że kapitał obrotowy jest w stosunku do kapitału stałego mniejszym w rolnictwie, niż w przemyśle. Stosunek zatem kapitału stałego do obrotowego jest w rolnictwie aż z dwóch przyczyn większym niż w przemyśle.

Lecz jasnem jest, iż kapitał stały o wiele mniej jest ruchomym od kapitału obrotowego. Kapitał stały daje się przenosić z jednych rąk do drugich drogą sprzedaży, lecz z trudnością i nigdy w całości nie da się przenieść z jednej gałęzi produkcyi do drugiej. W rolnictwie zaś, jakeśmy to już wspomnieli, trudności te są tem większe.

Str.



Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„Gazeta Grudziądzka“ donosi w numurze 87, że redaktorowi jej nowy wytoczono proces, i takie do wiadomości tej załącza uwagi:

„Ciernista to droga, po której kroczą redaktorzy pism polskich pod zaborem pruskim; wiedzie ona najczęściej do celi więziennej, albo kierownik pisma spotyka się też na niej z licznemi karami pieniężnemi, które zdolne zachwiać byt mianowicie młodych pism polskich.

Nie powstrzyma to jednakże żadnego uczciwego redaktora od obrony naszych świętości religijnych i najcenniejszych skarbów narodowych. To też i my nieustraszenie i wytrwale dalej kroczyć będziemy na raz obranej drodze, jak dotąd tak i nadal przy każdej okazyi piętnować będziemy haniebne postępowanie wrogów wiary naszej św. i polskości, niegodziwość i nadal nazywać będziemy niegodziwością, nikczemność nikczemnością, małoduszność małodusznością, bo pierwszym naszym obowiązkiem jest mówić prawdę, choćby ta prawda miała być cierpką dla tych, którzy pałają nienawiścią ku wszystkiemu co polskie, choćby nas za to spotkać miały i kary pieniężne i więzienie.

Dawno już powiedzieliśmy, że nie ma drugiego pisma polskiego, któreby tak było strzeżonem, tak szpiegowanem, jak „Gazeta Grudziądzka“; pismo to bowiem młode, więc słabe, łatwiej zatem przywiedzionem zostać może do upadku od pism starszych, które się już utrwalić zdołały, upadek zaś „Gazety Grudziądzkiej“ jest najgoretszem pragnieniem wrogów naszych, dla których ona jest niejako widzialnym wyrzutem sumienia.“

—

Z powodu wyborów w pszczyńsko-rybnickim powiecie takie zamieszcza uwagi „Gazeta Opolska“ w nr. 61:

„Wskutek śmierci ś. p. posła Conrada muszą się odbyć, jak wiadomo, w pszczyńsko rybnickim okręgu wyborczym tak do sejmu pruskiego jak do parlamentu niemieckiego nowe wybory. W raciborskiej „Oberschlesiche Volkszeitung“ pojawiła się już wiadomość, że komitet wyborczy tamtejszego okręgu postawił jako kandydata do parlamentu ks proboszcza Wolczyka, a jako kandydata do sejmu rzecznika (adwokata) Albersa z Raciborza.

Co do ks. Wolczyka, to kandydatura jego byłaby z pewnością wyborcom przyjemną, gdyż ks. Wolczyk odznaczył się już jako poseł do sejmu pruskiego, zabierając niejednokrotnie głos, aby w energiczny i stanowczy sposób bronić praw górnoszląskiego ludu. Zaś względem kandydatury p. Albersa nadmienia „Oberschl. Volksztg.“, że pan ten zażywa wielkiej przychylności ze strony polskiego ludu, ponieważ włada polskim językiem. Szczęśliwszego wyboru, pisze „Oberschl. Volkszeitung“, nie można było zrobić. Racibórz może być dumnym na swego współobywatela.

Wobec twierdzenia „Oberschl. Volkszt.“, że pan Albers zażywa przychylności polskiego ludu dla tego, że umie po polsku, wypada nadmienić, że lud polski już teraz przestał mierzyć przyjaciół swoich podług tego, czy umieją mówić po polsku lub nie, gdyż niejednokrotnie się już przekonał, że tak zwani przyjaciele jego umiejący po polsku, byli zwolennikami powolnej germanizacyi. Nie jedynie więc o znajomość języka polskiego ludowi chodzi, ale mianowicie o ducha, jakim przyszły poseł dla ludu jest ożywiony. Że co do tego ducha nawet niemiecko-katolickie gazety nie są jednej myśli, tego dowodem jest polemika, jaka pomiędzy niemi wskutek postawienia kandydatury p. Albersa się wszczęła...

Niechże więc wyborcy w pszczyńsko-Rybnickiem przerwą nareszcie dotychczasowe milczenie, niech się odezwą do swoich gazet ze swemi życzeniami, niech mianowicie starają się o to, aby kandydat do sejmu był według woli ludu polskiego, umiejący nietylko po polsku, ale czujący i myślący w duchu ludu i obeznany pod każdym względem, duchowym i materyalnym, z potrzebami ludu.

Lud polski w Pszczyńsko-Rybnickiem ma główne słowo do powiedzenia, gdyż ten okręg jest prawie zupełnie polski. Więc nie zasypiajcie gruszek w popiele. Gazety nic wam nie pomogą, jeżeli wy sami się nie ruszycie i nie objawicie stanowczej woli do walczenia za swoją własną sprawę. Czekamy zatem wiadomości z okręgu pszczyńsko-rybnickiego.

Kandydatura p. Albersa z pewnością się nie będzie mogła utrzymać bo już ta okoliczność niekorzystnie dla niego przemawia, że „Oberschl. Anzeiger“, znany z nieprzychylności dla Polaków, w jednym z ostatnich numerów bierze go w obronę.“

—

Tej samej sprawie poświęca „Katolik“ w nr. 87 następujące uwagi:

„Co do nas, to wiemy, że p. Albers bardzo czynny bierze udział w katolickich niemieckich związkach i miewa w nich często niemieckie wykłady, odczyty. Dalej wiemy, że na ostatnim wiecu katolickim w Raciborzu i innych zebraniach miewał niemieckie mowy. Natomiast nie przypominamy sobie, ażebyśmy kiedy czytali, że p. Albers też był n. p. w polskim robotniczym związku w Raciborzu, albo żeby na jakiem zebraniu polską mowę powiedział. Wogóle nazwisko p. Albersa jest między polskim ludem głównie znane jako nazwisko adwokata, mało znane jako polityka, najmniej znane jako takiego przyjaciela ludu polskiego, że za wymienieniem jego miana serce ludu się rozgrzewa i gorąco ku niemu bije, jak to n. p. jest z nazwiskiem ks. prob. Wolczyka.

„Katolik“ mówi tedy tak: Zanim wyborcy obu powiatów na p. Albersa się zgodzą, muszą na publicznych zebraniach z jego własnych ust w polskim języku się dowiedzieć, jak się na różne sprawy zapatruje, jakie ma zdanie, jak będzie głosował w różnych sprawach. Wyborcy mają prawo się domagać od kandydata, aby jasno i dokładnie wypowiedział, co myśli o sprawach lud obchodzących, o sprawach duchowych i materyalnych.“

—

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

Młody lekarz, nizki brunet o czarnych, śmiejących się oczach i ujmującym wyrazie twarzy, a tak ruchliwy i zwinny, że mimowoli małpę na myśl przywodził, — śmiał się serdecznie z Bergströma, gdy mu tenże z smutną miną niemiłą swą przygodę opowiedział. Z największą uprzejmością pospieszył następnie z objaśnieniami, przyczem prosił Bergströma, sprawy tej, jako mało znanej w mieście, nie rozpowiadać.

W ogóle mógł on zupełnie uspokoić Bergströma. Nörgaard miał rzeczywiście stosunek z tą dziewczyną, którą następnie, gdy mu się sprzykrzyła, brutalnie porzucił, faktem jest i to, że się nią potem on sam zaopiekował, gdyż była nieszczęśliwa i chora... Wszystko to prawda, lecz „dziecko“ było bajką w całem tem zdarzeniu.

Wracając do domu był Bergström zupełnie zadowolonym i sądził mieć ku temu prawo. Bo też zadziwiająco wszystko dobrze się udało w tej aferze całej, — lepiej o wiele niż — mówiąc szczerze — na to zasługiwał. Pełne obawy chwile ostatnich dwudziestu czterech godzin, były dlań nauczką; zapowiadał też sobie, nigdy więcej podobnej nie popełnić nieostrożności. Jakie to miłe uczucie, modz drogiej swej narzeczonej znowu prosto patrzeć w oczy! Teraz mógł!

Do zupełnego tryumfu brakło tylko tego nieszczęsnego „dziecka“, mniejsza o nie! Ale jakie to komiczne wszystko, nad wszelki wyraz komiczne! Engelke tego samego pewnie będzie zdania, bo też jaka z niej w istocie głęboko myśląca natura, jak bez uprzedzeń, przesądów! Niewiele takich jest kobiet!

Wszystko więc składało się o wiele lepiej niż to w najśmielszych marzeniach swych przypuszczał. Cieszył się już na myśl, jak o tem wszystkiem Engelce opowie . . . jak ją to będzie bawiło! Wyszukiwał w myśli rozmaitych wyrażeń dowcipnych, lekkich dwuznacznych napomknień, któremi delikatnie omijać będzie trudności opowiadania nieprzyzwoitych szczegółów zdarzenia.

Przyszedłszy do domu, napisał do niej, czy nie zechciałaby na drugi dzień przyjść do niego, by sam na sam, bez ojca pogawędzić mogli.

* * *

Nazajutrz przed południem siedział on w swym pokoju, oczekując jej przybycia. Mimo przeświadczenia, że nie miał powodu obawiać się, był zdenerwowany i niecierpliwy.

Mógł przecież Engelkę zupełnie uspokoić, miał pożądane dowody w ręku... a jednak... a jednak!...

Wtem rozległ się w przedpokoju głos dzwonka; wybiegł z pokoju, by jej drzwi otworzyć. Chciał ująć ją w swe ramiona i uścisnąć, lecz cofnęła się i, nie spojrzawszy nań nawet, wprost do pokoju weszła. Dziwna rzecz, jak ona się spieszy, pomyślał, i wszedł za nią nieco zakłopotany, obrażony trochę....

Gdy wszedł, stała w drugim końcu pokoju, przy oknie, twarzą na pokój zwrócona. Na tle jasnem okna odbijała wyraźnie mała jej postać i stała, patrząc mu prosto w oczy. Woalki nie podniosła, a w ręku trzymała jeszcze parasolkę.

— A więc? — spytała.

— Uniżony sługa twój — rzekł nieco ironicznie, kłaniając się z przesadą — prosić cię ośmiela, byś usiąść zechciała najpierw. Bądź jak u siebie w domu. — Jak głupio ona to osądziła — pomyślał — jak niesłusznie! Wszak to ja mam najzupełniejszą słuszność, czyż tak nie jest?

Engelke pozostała na swoim miejscu.

— Ależ najdroższa moja, proszę cię zdejm okrycie, usiądź proszę, mamy jeszcze dość czasu!

„Kuryer Poznański“ zamieścił w najświeższym czasie artykuł, zaprzeczający twierdzeniu jednego z pism berlińskich, że duchowieństwo nasze przejęte jest duchem narodowo-polskim. W wywodach swoich postawił klerykalny organ między innemi zasadę, że *„księża mogą i powinni być ożywieni jedynie duchem katolickim“*. Sprawie tej poświęca „Goniec Wielkopolski“ następujące uwagi:

„Duchowieństwo, jeżeli ma skutecznie oddziaływać na publiczność, musi posiadać zupełne jej zaufanie. A czyż podobna, aby pozyskało sobie to zaufanie, jeśli nie odczuwa potrzeb ziemskich czyli narodowościowych tejże ludności?

Smutne przykłady tego, do czego doprowadza różnica poglądów pod względem narodowości pomiędzy pasterzem a parafią mamy tak często na Górnym Szląsku, a nawet teraz już w Prusach Zachodnich, że przypomnimy tylko Sztum, gdzie poważani i gorliwi obywatele skarani zostali ciężkiem długoletniem więzieniem, ponieważ pomiędzy nimi a ich duszpasterzem nie było tego łącznika duchowego, o którym tu mówimy.

My nie chcemy dopuścić do takiego stanu i dla tego robotę „Kuryera Poznańskiego“ nazwać jesteśmy zniewoleni wręcz szkodliwą i podkopującą podstawy naszego bytu.

Nie ci zatem, którzy bronią interesów narodowościowych, a którym „Kuryer“ udowodnić nie jest w możności, aby walczyli kiedykolwiek z katolicyzmem, są agitatorami, podkopującymi powagę Kościoła, lecz właśnie „Kuryer Poznański“, który ultralojalizmem pragnie pomiędzy duszpasterzy a ich parafianami wbić klin indyferentyzmu; on to podkopuje tę powagę i on z tego właśnie powodu najniebezpieczniejszym jest agitatorem, przed którego zgubnem działaniem jak najenergiczniej należy ostrzegać.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ partyi młodosłowinskiej, wychodzący codziennie w Lublanie „Slovenski Narod“ pisze pod nagłówkiem: „Njemci a Slavjane“:

„Cylejska rozprawa w parlamencie austryackim zmieniła całkiem jego oblicze. Zeszły z planu względy wysokiej polityki koalicyi, stanęły przeciw sobie dwa obozy: słowiański i niemiecki. Nie pytano się, czy kto Chorwat, Czech, Polak, Rusin, ale wszyscy niby jedna dusza, jedną myślą przeniknięci, myślą słowiańską stanęli w jednym szeregu przeciw wrogowi odwiecznemu: Niemcom. Z drugiej strony stali przeciw Słowianom antysemici, sojusznicy Młodoczechów, lewica i wszystkie stronnictwa niemieckie.

„Polacy znani z tego, iż mniej gorąco na sprawę słowiańską się zapatrują, przypomnieli sobie w chwili ważnej, że w ich żyłach stara krew słowiańska płynie. Minister polski Madeyski padł z tego powodu, ale był to upadek za sprawę świętą i sprawiedliwą, jaką jest sprawa słowiańska.

„Znowu się Niemcy mogli przekonać, że Austryą można rządzić bez nich.

„Nas Słoweńców najbardziej raduje, iż gimnazyum mamy do zawdzięczenia naszej braci słowiańskiej. Fakt ten wzmocni węzły pomiędzy Słowiańszczyzną a nami. Tego zwycięztwa nie bylibyśmy odnieśli, gdyby nie Polacy. Gdyby się byli Polacy dali uwieść liberałom, sprawa byłaby upadła, bo nas Młodoczesi opuścili, głosując w trzeciem czytaniu przeciw budżetowi, a więc i przeciw gimnazyum. Konserwatyści, głosując za nami, nie uczynili tego ze sympatyi ku nam. Dla nich była to kwestya bytu. Stronnictwo to byłoby się rozpadło, jak się obecnie rozpada lewica. Polacy nie znali naszych stosunków, ani też Niemców, więc dali się im dotychczas za nos wodzić. Dziś poznawszy stosunek Polaków szląskich do Niemców zapewne rozbrat wezmą z nimi na zawsze...“

* * *

Chorwacki „Obzor“, organ partyi Strossmayera pisze o stosunku Serbów do Chorwatów:

„Niedawno temu wystąpiliśmy z szeregiem artykułów, omawiających konieczność zgody pomiędzy Serbami i Chorwatami i potrzebę ostatecznego porozumienia się. Niestety o Serbach musimy orzec, co swego czasu powiedział Talleryand o Burbonach, że niczego się nie nauczyli i niczego nie zapomnieli. Serbowie nie chcą nic wiedzieć o tem, żeśmy jednym narodem, że nas tylko różnią nazwiska i trwają uporczywie na stanowisku exkluzywnem.

„To, cośmy w odpowiedzi na nasz artykuł „O razmirici srpsko-hrvatskej“ w dziennikach serbskich przeczytali, świadczy o zupełnej bezmyślności polityków serbskich. Widzimy, że dla Serbów sprawa słowiańska nie ma żadnego znaczenia, są oni zdrajcami tej sprawy, wysługującymi się Madziarom i Niemcom. Jakże może być mowa o porozumieniu się pomiędzy różnemi plemionami słowiańskiemi, kiedy w jednym narodzie serbsko-chorwackim do porozumienia przyjść nie można. Walka, którą Serbowie z Chorwatami wiodą, demoralizuje Słowiańszczyznę i czyni nas śmiesznymi...“

* * *

„Hrvatska“, dziennik chorwacki wychodzący w Zagrzebiu pod kierownictwem dr. Franka, (stronnictwo prawa) nieprzyjaźnie wobec Serbów usposobionego, w ten sposób podżega Chorwatów przeciw Serbom:

„Jeden z naszych czytelników pisze nam co następuje. Wczoraj późnym wieczorem szedłem sobie spokojnie do domu z kawiarni od „Cara Austrijackago“. Wtem zachodzi mi drogę trzech drabów. „„Stój, wołają, powiedz nam, gdzie się teraz znajdujesz?““ Zdziwiony odpowiadam: „„Gdzieżby, jeżeli nie w Zagrzebiu w Chorwacyi!““ A oni na to: „„To nie Chorwacya, to Serbia, Zagrzeb leży w Serbii; Chorwacyi wcale nie znamy. Gadaj zaraz, żeś w Serbii!““ Odpowiadam, że tego nie powiem, bo to nie prawda. Na to junacy kijem uderzają mnie po plecach i po głowie i potem w nogi.

„Słyszę, że wypadki takie powtarzają się w nocy, że całe bandy zorganizowane Serbów włóczą się po ulicach i „„srbijanstwo““ w ten sposób propagują. Zwracam uwagę na tych junaków naszej władzy bezpieczeństwa publicznego.

* * *

Do czeskich „Narodnich Listów“ piszą ze Serajewa o stosunkach panujących w Bośni i Hercogowinie:

„Lud w krajach okupowanych jest wyłącznie serbskim, ale wszystkie nasze urzędy i język urzędowy jest niemiecki. Tureckie urzędy były dla Serbów względniejszemi, bo urzędowały po serbsku. Pan Kallay, wszechwładny pan w Bośni, wynalazł osobną dla nas barwę: czerwono-żółtą, choć nią była zawsze czerwono-biało-modrą. Tutejszym Serbom uczonym zabroniono należeć do literackich towarzystw serbskich poza granicami, cenzura nie pozwala na umieszczenie żadnego wierszyka patryotycznego w tygodniku „Bozenska Vila“. Latoś rewidowano kościoły i skonfiskowano wszystkie obrazy, odnoszące się do historyi serbskiej, jako też portrety wybitniejszych Serbów.

„Co rok tysiące Serbów emigruje; na ich miejsce sprowadza p. Kallay przeważnie Niemców, a tylko mało Czechów lub Polaków. Wielu duchownych serbskich musiało kraj opuścić, pomiędzy nimi dwóch metropolitów: Kosanowicz i Ilinowicz. Również w ciągu kilku lat ostatnich unikając śledztwa i więzienia, uszło do Serbii wielu uczonych, poetów i nauczycieli.

„Gospodarując w ten sposób p. Kallay z pewnością nie zjedna dla Austryi sympatyi mieszkańców Bośni, — taka polityka robi z ludności wrogów państwa, co przecież w interesie monarchii nie może leżeć.

D. K.

— A więc to prawda? — spytała ledwie dosłyszalnym głosem.

— Co takiego? co ma być prawdą?

— Nie męcz mnie, Jerzy, wiesz dobrze o czem mówię — rzekła, uderzając niecierpliwie parasolką o podłogę.

Spojrzał na nią z wyrazem naiwności w oczach.

— Drogie dziecię, nie mogę przecież wiedzieć, o czem ty myślisz!

— A więc to prawda — powtórzyła gniewnie — że nie miał dziecka?

— No, nie miał! — odparł wzruszając ramionami. Jaka ona niemądra — pomyślał — jak niezręcznie się do tej sprawy zabiera! I w jakim celu?... Najpewniej ojciec jej to wmówił... Spojrzał teraz na nią; stała o okno wsparta, cicha, bledsza niż zwykle... zmartwiona... i nagle uczuł się wzruszonym do głębi — przyszło mu na myśl, jak ona wczoraj z powodu ojca cierpieć musiała! Biedne stworzenie!...

— Engelke — rzekł, podchodząc do niej — nie jest tak źle jak sądzisz, wierzaj mi.

Chciał objąć ją ramieniem, lecz wyrwała się i chwiejnym trochę krokiem do drzwi się zbliżyła.

— Ależ Engelko moja! zechciej mnie wysłuchać! — podszedł i ujął ją za rękę.

Odwróciła się, a mała jej delikatna twarzyczka płonęła cała z gniewu i oburzenia.

— Kłamco! — szepnęła.

Drgnął cały.

— No, no! proszę cię nie grajmy komedyi! — rzekł oschle.

— Nie! — zawołała, idąc ku drzwiom; lecz on uprzedził ją i zamknąwszy drzwi, włożył klucz do kieszeni.

— Niech ci się nie zdaje, że pozwolę ci wyjść ztąd, zanim odwołasz to, co przed chwilą powiedziałaś! Wszystko musi mieć swoje granice!

Spojrzał na nią wzrokiem pełnym gniewu. Stała tuż przy drzwiach, blada, z oczyma spuszczonemi.

— Pojmujesz chyba, że tak postępować się nie godzi! — ciągnął dalej z zapałem. — Nie wolno człowieka uczciwego posądzać o spełnienie jakiegoś niegodnego czynu, jeśli się żadnych ku temu danych nie posiada!

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Czyż nie tak? rozumie się! a ty tak potępiłaś, nie *ja*, stanowczo *ja* tego nie uczyniłem! — Przeszedł się po pokoju kilka razy, żywo gestykulując rękami. — To, co powiedziałem jest prawdą! — rzekł.

Po chwili zaś przystanąwszy przed nią, począł nagle śmiać się serdecznie.

— Posłuchajże, cała ta historya jest w gruncie rzeczy śmieszną! — a my o mało, że nie pogniewaliśmy się o nię. I o co? mój Boże! To tylko nieporozumienie. Cała ta sprawa... czyste nieporozumienie! A jakie z ciebie komiczne stworzenie, Engelko! — rzekł, siadając naprzeciw niej w fotelu. — Któżby cię mógł zrozumieć? nikt na świecie! Powiedz co ma znaczyć twa mina grobowa?... — Śmiał się, lecz spostrzegłszy, że wszystko to, bez wrażenia przechodzi, że nie przestaje przyglądać mu się w milczeniu, spoważniał nagle.

— Gdybyś tylko zechciała usiąść i wysłuchać mnie, wszystko chcę ci wyjaśnić — rzekł przekonywająco. — Chciałem cię tylko trochę przestraszyć, ale teraz już dość tego. Nie można z tobą żartować, Engelko! — dodał wesoło. — Co to będzie, jak się pobierzemy!...

— My nie pobierzemy się nigdy! — odparła głosem stanowczym.

Spojrzał na nią przestraszony, po chwili jednak z udanym humorem, przedrzeźniać ją począł.

— Nie pobierzemy się nigdy! stanowczo? Lecz dość już tego, moja droga, stajesz się, jak widzę, zanadto dowcipną.... Gdybym cię mógł nakłonić, żebyś usiadła, Engelko! — rzekł niecierpliwie.

— Nie chcesz? niech i tak będzie, — to trudno... Słuchaj, opowiem ci, jak się rzecz miała. Starałem się o najlepsze informacye co do tej sprawy, dotarłem wreszcie do samego że tak powiem — jej źródła, no! i okazało się, że opowiadanie moje najzupełniej było prawdziwem. Nörgaard miał rzeczywiście stosunek



Wystawa obrazów

w teatrze polskim.

III.

W ubiegłym tygodniu zmieniła się fizyonomia wystawy naszej. Całą frontową ścianę w przedsionku teatralnem zajął obraz nader wielkich rozmiarów *Wojciecha Gersona* p. t. „Powrót jeńców polskich z Litwy za Łokietka jako wiano królowej Aldony“. O charakterze artystycznej twórczości malarza tego pisałem już na innem miejscu, — dziś zatem poprzestaję tylko na krótkiej notatce, że typowe właściwości Gersona ujawniły się i w najświeższym jego utworze, z tą jednak różnicą, że wady występują tu w słabszych akcentach, zalety natomiast z niezwykłą uderzają siłą. Pomijając pewną twardość kolorów i kilka martwych postaci, płótno to zaleca się znakomitą poprawnością rysunku i kompozycyi, a przedewszystkiem silną i różnorodną charakterystyką ludzkiego tłumu. Środkowa grupa mianowicie — dwóch młodzieńców wiodących starca ślepego — odznacza się niepospolitą plastyką a w części uduchowieniem typów. Pejzaż pod względem perspektywy i barwy jest jednym z najpiękniejszych, jakie w obrazach Gersona spotkać mi się zdarzyło.

Z krajobrazów wyróżniają się korzystnie dwa w temacie zbliżone płótna Bittmana. Bittman maluje tłusto, nie lubuje się w starych kontrastach partyi przejrzyście laserowanych do grubo nałożonych, lecz impastuje wszystko.

W obu jego pejzażach widzimy chatę rybacką i rozpięte sieci. W jednym wije się z daleka rzeka, a długie sieci schną rozpostarte ponad ziemią, w drugim odpoczywa na ławeczce starzec siwy, — niezawodnie rybak — a dwie kobiety naprawiają niewód. Malowane szerokim pędzlem obrazy, proste w motywie, a pełne światła i ciepła, odznaczają się pełnią barw lokalnych i dobrem sharmoniowaniem.

Nie mogę tu szczegółowo charakteryzować wszystkich okazów wystawy, wśród których znajduje się sporo utworów zdradzających niepospolity talent i technikę, bo musiałbym ramy sprawozdania nadto rozszerzyć i znużyć czytelników powolną wędrówką. Przyspieszam zatem kroku i zapisuję na zakończenie tylko takie momenty z obserwacyi moich, które bądź to są hołdem dla wielkiego artyzmu, bądź krytyką naszych poznańskich upodobań i przesądów.

W pierwszym rzędzie wymieniam zatem nazwisko *Stanisława Grocholskiego*, którego czarownica stanowi obok utworów Bilińskiej „*great attraction*“ wystawy. Obraz ten nieco za czarny — tłomaczy się to tendencyą wydobycia największego światła na mocy prawa kontrastu — porywa swym mistycznym nastrojem. Oblicze wiedźmy w blaskach różnobarwnych płomieni stanowi znakomity efekt kolorystyczny a pogrążona w mrokach postać dziewczyny i dziecka oraz sylweta chorego mężczyzny, wynurzająca się z czarnej głębi obrazu, potęguje wrażenie tajemniczej grozy. Wręcz niezrozumiałe natomiast są dla mnie zachwyty publiczności, wpatrującej się z lubością w maleńki obrazek starej kobiety robiącej pończochę. Nazwisko autora uleciało mi z pamięci, ale jest to niezawodnie niemiecka robótka, słodka, przekończona i miękka. Artysta pamiętał o każdej zmarszcze na twarzy i położywszy z iście niemiecką pedanteryą wszystkie kropki nad „i“, stworzył coś tak podobnego do oleodruku, tak niesmacznie wygładzonego, że zasłużył istotnie na poklask — fotografów.

„Nagie ciało“ reprezentowane było na wystawie w ślicznym półakcie Bilińskiej, — obrazu tego jednak niestety od dni kilku szukam napróżno. Szkoda mi tego ciała o lekko zaróżowionej karnacyi, tego torsu o niezrównanej plastyce i modelacyi, tego aksamitnego połysku skóry. Na szczęście pozostały w foyer teatralnem dwa inne utwory wielkiej artystki, z których jeden — miniaturowy portret byłego „Czwartaka“, — zaliczam do najlepszych obrazów artystki, — drugi — rysunek chłopa w łachmanach — posiada taką siłę charakterystyki i takie mistrzostwo układu, że bez barwy, w swym kreskowym negliżu żyje i duszę odsłania.

W dziale portretów wymieniam jeszcze *Wł. Skibińskiego* portret własny, o nadto świecącej głowie, ale malowany na ogół śmiało i szeroko, a w modelacyi poprawny.

Styka, który w najświeższym czasie zaskarbił sobie więcej rozgłosu niż zasługi ową robotą „*à ficelles et à grand effet*“, nazwaną „Polonią“ i zapożyczonem podobno z jakiegoś wiedeńskiego fryzu „Spotkaniem“, wystąpił na tegorocznej wystawie z nowym obrazem przedstawiającym „Madonnę pod krzyżem“ według słów pieśni „Juxta crucem lacrimosa“. Techniczna strona utworu nie posiada żadnych wybitniejszych zalet. Rysunek niesmacznie wyprężonej ręki o rozstawionych palcach i surowa martwota kolorytu nadają całemu obrazowi dziwaczną sztywność, niezłagodzoną nawet natchnionym wyrazem twarzy, zaopatrzonej w kilka szablonowych efekcików malarskich. A mimo to ta Madonna u nas się podoba... Ludzie zachwycają się tematem i rozczulają łzami Matki bolejącej.

W wręcz odmiennym stylu traktowane są pastele Mieczysława Rayznera. Artysta ten nie stara się bynajmniej o wydobycie psychologicznego momentu, — w utworach jego króluje szyk i elegancya. Jest to mistrz przejęty do szpiku kości atmosferą paryzkich buduarów, — jest to malarz wielkiego i małego półświatka z całym aparatem półzmysłowego flirtu, zagadkowych uśmiechów i spojrzeń, tualetowej rafineryi i finezyi. Rayznerowska maniera schlebiająca przelotnym gustom paryzkiej publiczności, nuży oko jednostajnością swoją i wywiera wrażenie przeróżnych kupletów wyśpiewanych na jednę melodyę, ale uznać w niej trzeba bądź co bądź przedziwną technikę i znakomite poczucie barwy. Dotknięcia pędzla w tych głowach francuzkich są tak lekkie, kolory tak dostrojone do zasadniczego kamertonu, charakterystyka tak subtelna i silna przez harmonijne skojarzenie drugorzędnych akcesoryi z typem oblicza, że bądź co bądź mimo pewnej chorobliwej monotonii obrazów Rayznera, wirtuozowi należy się głębokie uznanie. Wiadomo zresztą, że artysta ten umie niekiedy zapominać o złotodajnej manierze i z rodzimych motywów tworzyć arcydzieła. Toż „Salon“ paryzki za taki właśnie uwieńczył go obraz.

W. R.

Jan Stanisławski.

Dla czego między polską publicznością nazwisko artysty-malarza, Jana Stanisławskiego, nie jest dotychczas otoczone należną wziętością?... Wytłomaczyć się to daje obojętnością naszego społeczeństwa względem sztuki, oraz wielką skromnością, czy też wyniosłą dumą artysty, który unika reklamy, unika głośniejszego wyjawiania swych poglądów o malarstwie a nawet w kółku życzliwych i przyjaciół wnika, by go pytano o jego obrazy. Gdy zaś, pomimowoli, ktoś wyjawi pochlebne zdanie o poetycznie pięknych jego krajobrazach, na ruchliwej twarzy artysty pojawia się wyraz ironii lub chłodnej obojętności; jeżeli zaś owo pochlebne zdanie wypowiedziane zostało niezręcznie, twarz Stanisławskiego wyraża znudzenie lub podrażnienie, jakiego się doznaje, posły-

---

z dziewczyną, porzucił ją i t. d., i t. d. Jeden tylko szczegół okazał się niezupełnie dokładnym, mianowicie kwestya dziecka. Tak, dziecię było kaczką, — małą kaczuszką, jeśli wolisz, w każdym razie do tego należało rodu... Ale, ty nie zdajesz się być dzisiaj usposobioną do żartów, moja mała. Teraz widzisz, że nie masz powodu najmniejszego żałować tego, coś zrobiła. Pod każdym względem był list twój zupełnie słusznym, etycznym w najwyższym stopniu, — wszystko czego tylko niewinne twe serduszko żądać może... No, a cóż teraz powiesz?

Wstał i zbliżył się do niej.

— Jeszcze się gniewasz? Ależ dla czego na miłość boską!

Ujął jej rękę.

— Takaś dziwna, cóż się stało właściwie? Engelko, powiedz.

Lecz ona odwróciła głowę, nic nie odpowiedziawszy.

— Puść mnie, Jerzy, chcę odejść!

Przez chwilę milczał zdziwiony.

— Chcesz pójść? nie rozmawialiśmy z sobą jeszcze, Engelko! co ci jest, najdroższa, możeś niezdrowa? — spytał.

Zaprzeczyła głową.

— Chcę odejść już, puść mnie!

Stał długo i patrzał na nią w milczeniu: począł szukać klucza po kieszeniach.

— Nic z tego wszystkiego nie rozumiem! — rzekł cicho — ale to się wyjaśni chyba! — rzekł, usiłując w weselszą uderzyć strunę. — Ale cofasz wyrzeczone przedtem niebaczne słowo?

— Nie! — odparła.

— Nie cofasz?

— Nie cofam!

Tym razem nic nie odpowiedział; poszedłszy do drzwi, otworzył je powoli.

Proszę! — rzekł, wskazując jej wyjście ruchem nieco teatralnym.

Wyszła; poszedł za nią i drzwi na schody jej otworzył.

— Bądź zdrowa! — rzekł, wyciągając do niej rękę.

Przez chwilę zawahała się we drzwiach.

— A pocałunek pożegnalny? — zapytał.

Nagłym ruchem odwróciła się i podniosła twarzyczkę swą bladą, woalką przysłoniętą; usta zacisnęła z uporem, oczy miała przymknięte.

Bergström pochwycił ją w ramiona i uścisnął, lecz zaraz wyrwała się z jego objęć i nie obejrzawszy się nawet, szybko ze schodów zbiegła, potykając się w pospiechu.

— Engelke! — szepnął.

Nie spojrzała w górę. Stał o poręcz oparty tak długo, aż zamilkł odgłos jej kroków w sieni. Poczem wszedł napowrót; w środku pokoju zatrzymał się i patrzał przed siebie.

— Dla czego? dla czego? — pytał siebie wzburzony, — cóż uczyniłem takiego?

Mnóstwo frazesów z romansów przyszło mu teraz na myśl: „Skrwawione, złamane serce pod zimną powłoką“. „Miłość jej w jednej chwili stłumiona“... Lecz cóż to wszystko znaczy.

Niecierpliwie wzruszył ramionami i począł przechadzać się po pokoju.

— To musi być znowu jakiś kaprys, jakaś *idée fixe* u niej! Piątej klepki jej brak, tej małej... Ale ona się chyba opamięta!

— Któż, u licha, może znać kobiety! — rzekł głośno w lekkim tonie, — chyba aktorzy i księża spowiednicy może... A zresztą?... a tak, krawcy! — dodał z uśmiechem.

Lecz to nie uspokoiło go bynajmniej. Postanowił dnia tego jeszcze pójść do niej, by rzecz tę całkowicie wyjaśnić. Po namyśle jednak, a także tajemną wiedziony obawą, której dokładnie wytłomaczyć sobie nie mógł, odłożył odwiedziny te na później. W końcu zadecydował nawet kilka dni się nie pokazywać Engelce. Do tego czasu — sądził — ona się uspokoi i zmieni swe zdanie o nim.

Powołując się bezustannie na czyste swe sumienie, usiłował powrócić do równowagi, lecz to mu się nie udawało zupełnie.

* * *

(Ciąg dalszy nastąpi.)

szawszy nieprzyjemny zgrzyt i rozmowa się urywa, by po chwili przybrać zwrot nowy, ogólny, nic już wspólnego niemający z jego twórczością.

Jan Stanisławski, syn znakomitego tłomacza „Boskiej komedyi“ Danta, jest rodem z guberni kijowskiej i dopiero po ukończeniu wydziału matematycznego na uniwersytecie warszawskim, zabrał się do studyowania sztuki. Obecnie ma lat trzydzieści parę, zamieszkuje przeważnie w Kijowie, lecz od r. 1888 corocznie przybywa do Paryża na kilka miesięcy podczas wiosny, to jest w porze, gdy oprócz dwóch wielkich oficyalnych salonów, mnóstwo jest pomniejszych wystaw sztuk pięknych. Na otwartej w maju wystawie obrazów Claude Moneta można go było spotkać nieledwie że codziennie. Fakt ten dostatecznie objaśnia, jak wysoko on ceni wspaniałe arcydzieła mistrza.

Należąc do grona dawnych i stałych wielbicieli talentu p. Stanisławskiego, zapytujemy go wkrótce po tegorocznem przybyciu do Paryża:

— Co pan malowałeś w tym roku?... Czy dużo obrazów przywiozłeś pan ze sobą?...

Otrzymawszy odpowiedź zbyt lakoniczną i widząc, że rozmowa zwraca się w innym kierunku, przerywamy, mówiąc:

— Wiem, gdzie pańskie siedlisko w Paryżu, więc za tydzień przyjadę zobaczyć obrazy i będę notowała wszystko, co z ust pańskich posłyszę, by ułożyć z tego interview.

— Nawet panu nie pozwalam na pisanie interwiewu o mnie. Nie jestem Józefem Chełmońskim, a tylko tej miary artysta może pozwolić, by zapisywano jego poglądy. Obrazy pokażę panu podług corocznego zwyczaju, ale nie chcę być interwiowany, bo byłoby to wprost śmieszne!

Tak więc niewolno mi mówić o treści naszej rozmowy, jakkolwiek rozmawialiśmy nieco o salonach, o wystawie obrazów Claude Moneta a nawet o zeszłorocznej wystawie we Lwowie.

Przyjeżdżając do Paryża, p. Stanisławski zwykle zamieszkuje w pobliżu ogrodu Luksemburskiego, w hotelu starym i brudnym przy ulicy Monsieur-le-Prince, „bo mu przypomina oberże, opisywane w powieściach Balzaca“.

Przybywszy tam w dniu oznaczonym i siadłszy na słomą wyplatanym stołku, w pobliżu okna, o północnem a więc właściwem oświetleniu, mieliśmy sposobność, z łaski artysty, obejrzeć co najmniej setkę jego obrazów i szkiców olejnych. Żaden z nich nie przenosi metra kwadratowego powierzchni a większość posiada zaledwie kilkadziesiąt centymetrów kwadratowych. Maleńkie są one rozmiarami, lecz wielkie tchnącem od nich pięknem. Obrazy te, nieoprawne, przeważnie malowane na drewnianych deszczułkach, przesuwały się teraz jedne za drugiemi, stawiane kolejno na stołku, podsuniętym pod jakąś hotelową firankę, o spłowiałej, czerwonej barwie. Lecz niestosowna z pięknością obrazów szpetota stancyi „balzakowskiego“ hotelu naraz znikła, oczy bowiem i uwaga pochwycone zostały czarem, promieniejącym z każdego z pokazywanych nam krajobrazów. Wśród nich jeden tylko napotkaliśmy szkic, przedstawiający izbę folwarczną, w pośrodku której zasiadła gromadka kobiet różnego wieku, drąc pierze w naczynia, rozstawione na stole. W tym szkicu, jak wogóle we wszystkiem, co maluje Stanisławski, ujawnia się ta sama dążność i to samo poszukiwanie, co u Claude Moneta — to jest synteza rzeczy, z pominięciem drobiazgowego wykończenia szczegółów, uwydatniających się w miarę wpatrzenia się w obraz, którego zadaniem jest pochwycenie gry światła, powietrza.

Patrząc na tę ogromną ilość krajobrazów, włoskich, francuzkich i lokalnie paryzkich, niewiadomo, co więcej podziwiać, czy pochwyconą dal nieba i ziemi, czy realistyczność kolorytu, czy pysznie rozłożone światło, wykazujące dokładnie porę roku i dnia, czy też poetyczność natchnienia artysty? Bo Stanisławski jest, bez zaprzeczenia, wielkim poetą, umiejącym swemi obrazami mówić i porywać!...

W ostatnich dniach nadeszła z Berlina wiadomość, iż obrazy p. St., znajdujące się na tamtejszej wystawie, zostały obadwa zakupione przez posła Kościelskiego. Być może, iż fakt zakupienia obrazów przez człowieka o głośnem nazwisku przyczyni się do przyśpieszenia właściwego ocenienia talentu p. Stanisławskiego, który dotychczas więcej jest znany i ceniony przez cudzoziemców, aniżeli przez nasze, polskie społeczeństwo, zbyt mało obeznane ze sztuką a skutkiem tego zbyt mało śledzące za jej rozwojem.

P. T.

Bohaterowie a poeci.

(Dokończenie.)

Niewątpliwie sztuka służy ogólnym celom ludzkości, - jeżeli jej służy, co niezawsze bywa, — a częstokroć jednak oddaje bez porównania większe usługi swoim kapłanom. Wspominaliśmy już wyżej, że twórczość artystyczna wyzwala przedewszystkiem samych twórców z więzów krępujących ich ducha: pozwala mu się harmonijnie rozwijać i sprawiać niezbędne dla jego życia widowisko własnej siły i wielkości. Jak tu więc nie przywiązać się wszystkiemi siłami do czegoś, co istnieniu naszemu sprzyja więcej, niż cokolwiekbądź, — jak nie poświęcić temu wszystkich innych celów i widoków ziemskich? Gdybyśmy jakiemu Murillo lub Rafaelowi odebrali możność urzeczywistniania ich ideałów artystycznych, dając im w zamian jak najwygodniejszy byt i najwyższe położenie społeczne, tobyśmy ich unieszczęśliwili. Każdy z nich wolałby malować swe prześliczne Madonny, żyjąc w nędzy, niż opływać we wszelkie dobra ziemskie i nie módz tego czynić. Wszyscy im podobni gotowi wyrzec się wszystkiego, byleby módz tylko naczelnej potrzebie ich istoty zadośćuczynić. W takich warunkach bohaterstwo przestaje być czemś wyjątkowem i staje się zjawiskiem pospolitem. Wszelkie inne zawody i powołania mniej szczytne, bardziej przymusowe i nie dające dużo zadowolenia wewnętrznego, mogą nam dostarczyć mnóztwo przykładów `podobnegoż bohaterstwa, codziennie, bez blasków oślepiających praktykowanego.

Kto sztukę swą uważa za coś stojącego wyżej ponad wszelką rzeczywistość,*) ten może dla niej poświęcić c a ł ą r z e c z y w i s t o ś ć, nie doznając przytem zbytniej przykrości.

* * *

Rozpatrzmy z kolei drugą stronę sprawy; wpływ bohaterów i poetów na ludzi, — skutki ich odnośnych działalności. Trudną jest wogóle rzeczą śledzenie wpływów idei jakiejś na masę ludzką. Wygłoszona idea może nie pociągnąć za sobą żadnych natychmiastowych skutków; wówczas skłonni jesteśmy odmówić jej wszelkiej wartości, tak jak we wszystkich wypadkach, gdzie danej przyczynie nie odpowiada widzialny skutek. Tymczasem idea może się rozwijać w sposób niedostępny ludzkiemu spostrzeganiu, może robić postępy nie manifestujące się przez długi czas żadnemi widomemi znakami, — w końcu wybuchnąć w miejscu,

*) Znanemi są usposobienia wszelkich artystów widzących w utworach własnego umysłu najistotniejszą rzeczywistość. Balsac, dla którego postacie jego utworów były czemś ważniejszem od osób żywych (znana rozmowa z Sandeau), jest dobrym przykładem podobnych nastrojów twórczych.

G. D'ANNUNZIO.

BOHATER.

Tłomaczył **I. Zan.**

Wielkie sztandary świętego Gonzalwa już wyniesione na plac, chwiały się w powietrzu, podtrzymywane dłońmi ludzi o kształtach Herkulesa, o cerze śniadej, z szyjami jak gdyby nabrzmiałemi od nadmiaru sił. Dźwiganie było dla nich igraszką. Od czasu zwycięztwa nad Raduzyńczykami mieszkańcy wsi Madalico obchodzili święto wrześniowe z jeszcze większą wspaniałością. Dusze gorzały cudownym ogniem pobożności. Cały kraj składał potworowi hołdy dziękczynne z obfitości ostatnich zbiorów. Kobiety powywieszały z okien swe wyprawne kołdry, mężczyźni umaili girlandami drzwi domostw, kwieciem osypali progi. Silny wiatr dmący od morza wyprawiał na ulicach harce, kołysania i falowania, które zachwycały i upajały tłumy...

Procesya wypływała powoli z kruchty kościelnej i wydłużała się coraz bardziej, sunąc po placu. Przed ołtarzem św. Pantaleona stanęło ośmiu mężczyzn uprzywilejowanych, oczekując chwili zdjęcia figury św. Gonzalwa.

Imiona ich były: Giovanni Curo, Ummalido, Mattala, Vinzenzio Guanno, Rocco di Cenzo, Benedetto Galante, Biago di Clisei, Giovanni Senza-Paura.

Stali wyprostowani, milczący, zakłopotani uroczystą powagą swej czynności, odczuwając silny zamęt myśli w mózgownicach. Byli to ludzie nadzwyczaj krzepcy i barczyści; w oczach gorzał im płomień fanatymu. Nosili w uszach złote kółka, jak kobiety. Od czasu do czasu obmacywali przeguby swych rąk i mięśnie przedramienia, — jak gdyby dla wypróbowania ich wytrwałości, albo ukradkiem rzucali sobie uśmiechy.

Statua patrona odlana z bronzu czarniawego, z głową i rękami srebrnemi, była olbrzymich rozmiarów i nadzwyczajnej ciężkości.

Mattala rzekł:

— Wszyscyście gotowi?

Dokoła nich wypierano się łokciami, by módz patrzeć.

Szkła w oknach kościoła dźwięczały za każdym podmuchem wiatru. Nawa napełniała się dymem kadzideł i wonnych żywic. Dźwięki muzyki dawały się na chwilę słyszeć i głuchły znowu. W tym pobożnym zamęcie rodzaj ślepej egzaltacyi rodził się i rósł w sercach tych ośmiu ludzi.

Mattala rzekł:

— Raz!... Dwa!... Trzy!...

I połączyli swe wysiłki, by zdjąć z ołtarza figurę świętego, lecz olbrzymi ciężar przewyższał nieomal ich siły i statua chwiejąc się i chybocząc o mało nie wywróciła się na lewo. Nie potrafili jeszcze dość mocno otoczyć rękami podstawy.

Podpierali ją, starając się sami mocniej oprzeć... Lecz Biago di Clisei i Giosani Curo, mniej zręczni, zaczęli się cofać i statua pochyliła się gwałtownie w ich stronę.

Ummalido krzyknął:

— Ostrożnie! ostrożnie! syczał koło nich tłum, na widok świętego w niebezpieczeństwie.

Hałas dolatujący z placu nie dozwalał rozróżnić głosów. Ummalido upadł na kolana, z prawą ręką przygniecioną przez bronz. W położeniu tem, nie mogąc się podnieść, utkwił oczy w rękę swą uwięzioną, — oczy wytrzeszczone pełne bólu i przerażenia, lecz nie krzyczał już więcej. Krew obryzgała ołtarz.

Poraz wtóry towarzysze jego usiłowali podnieść druzgoczącą masę. Nie było to rzeczą łatwą. W umęczeniu tortury Ummalido wykrzywiał usta, — kobiety drżały na ten widok.

Nareszcie udało im się podnieść statuę i Umalido mógł wyciągnąć swą rękę zgruchotaną, krwawiącą się, bezkształtną.

— Idź do domu, idź do domu... — krzyczano ze wszech stron, pchając go ku drzwiom kościoła.

Jakaś kobieta zdjęła fartuch i podała mu, by go użył jako bandaż. Ummalido odmówił. Nie mówił nic; patrzał na gromadkę ludzi gestykulujących i kłócących się przed statuą.

— Teraz moja kolej!

— Nie, moja!

— Ależ nie, to ja!

Cicco Pono, Mattia Scaffarola i Tomaso di

w którem jak najmniej spodziewaliśmy się jej działania. W ten sposób łatwo można zatracić i upuścić z widoku przyczynowy związek między ideą a jej skutkiem; można ogłosić bezpłodność idei, gdyż działania jej nie widziało się co chwila własnemi oczyma, a tysiączne rozgałęzienia, na jakie się rozpadła, nie pozwalają każdemu znaleść do nich wspólnego źródła prądów umysłowych, zasad, idei etc. Czyż jednak mamy odmówić skuteczności działania odwiecznym siłom przyrody na tej jedynie zasadzie, żeśmy działania tego nigdy nie oglądali? Tak więc samo i idee, których skutków nie oglądamy natychmiast, nie możemy skazywać na bezpłodność, nie znamy bowiem tych wszystkich, na kogo one oddziałały, nie jesteśmy świadomi tych wszelkich przeobrażeń, jakie za ich sprawą zostały w sercach ludzkich dokonane, nie wiemy, jak może zdeterminować tych, a jak owych, i co z masy drobnych zmian i oddziaływań może ostatecznie wyniknąć.

W walce więc idei, w ścieraniu się rozmaitych interesów i dążności ludzkich, pieśni poetów, tym hasłom, jakie wydzwaniała oraz ideom, jakie głosiła, niepodobna odmówić znaczenia i wpływu nawet wtedy, kiedy ani jedno ani drugie nie rzuca się w oczy. Nie potrzebujemy tu przypominać znanych ogólnie faktów: budzenia się ducha ludzkiego pod wpływem pieśni, zwiększania się świadomości narodowej dzięki jej współdziałaniu, a nawet jednostkowych czynów bohaterskich, dokonanych w jej imieniu niejako etc. Wielcy poeci wszelkich krajów i epok dziejowych byli zarazem i wielkimi pionierami historyi narodów swoich, przywódzcami duchowymi ich walk i dążeń. Trzeba jednakże zauważyć, że najczęściej społeczeństwa grupowały się dokoła nich nie dla tego, iż słowo ich było zapoczątkowaniem jakiegoś działania, główną jego pobudką; działo się to dla tego, że naród o d n a j d y w a ł s a m e g o s i e b i e w tem słowie, że w y r a ż a ł o ono silnie i podniośle, j e g o w ł a s n e d z i a ł a n i e, dla którego nieraz szukał potwierdzenia.

Wpływ przeto poetów nie był bodźcem p i e r w i a s t k o w y m, lecz d o d a t k o w y m, nie tyle budził chęci i pragnienia, ile potęgował, wyrażając je i uświadamiając innym. Działanie poetów na otoczenie jest w większości wypadków p o ś r e d n i e, tymczasem gdy oddziaływanie bohaterów jest b e z p o ś r e d n i e i służy za punkt wyjścia. Weźmy n. p. dopływ pieśni Rouget de l'Isle'a na Francuzów schyłku zeszłego stulecia, gdyż ona wiele natychmiastowych działań za sobą pociągnęła. Wszak działała ona na uczucie już wytworzone, które działało przed jej przyjściem.; ona co najwyżej nadawać mogła każdorazowemu objawianiu się uczucia tego pełniejszy i jaśniejszy wyraz. Pieśń ta zrodzona była naprzód pewnem działaniem, a później sama działać zaczęła. To samo możemy powiedzieć o innych podobnych pieśniach i wogóle wypowiedzianych s ł o w a c h. Tak samo działały na ochotników niemieckich z 1813 r. i następnych lat piosnki T. Körner'a i podobnych pieweów owych czasów: podobnież dramaty Alfieri'ego na Włochów etc. etc. Trzeba słowem dla pieśni warunków wyjątkowo sprzyjających, żeby mogła działać skutecznie na ludzi i wywoływać wypadki donioślejsze: trzeba momentów rzadkich i gruntu odpowiednio przygotowanego, by ludzie przejmowali się słowami pieśni i wcielali je w żywe kształty. W przeciwnym wypadku będą one spoczywały w wielkich składach wytworów myśli ludzkiej jako towar bezużyteczny, zleżały, martwy. Zależy to również i od natury słów wypowiadanych przez poetów. Dla dokonywania prawdziwie wielkich czynów, mogących cokolwiek zaważyć na szali dziejów, niezbędnem jest współdziałanie mas; język poetów niezawsze dla nich jest zrozumiałym. Poeci za wiele wyrażają w ł a s n y c h, s p e c y a l n y c h p o t r z e b, lubują się w malowaniu takich stanów ducha, jakie odczuwać i zrozumieć mogą tylko wyjątkowe umysły i wyborowe serca; ztąd nieraz cała ich wielkość pochodzi. Tymczasem dla mas trzeba słów zrozumiałych ogólnie, myśli p r z e c i ę t n y c h, lecz takich, co są wyrazem zasadniczych podstaw ich bytu i z powszedniemi jego położeniami są najściślej związane. Myśli podobne głównie od bohaterów wychodzą, dla tego tak magicznie działają na masy. Trzeba streścić usposobienie, tkwiące w sercach wielkiej liczby ludzi, trzeba pragnieniom ludzkim, rozproszonym wśród ogółu, dać wyraz zwięzły, ażeby módz pociągnąć go za sobą i do czynów nieśmiertelnych zagrzać. Subtelne tkanki myśli, głębokie słowa, mówiące o eterycznych nastrojach ducha, nic tu nie zrobią. Magicznie działały słowa Chrystusa, Mahometa, Kalwina i t. p. wszystkich wielkich reformatorów i przywódzców ludu, gdyż odpowiadały potrzebom ogólnie odczuwanym i wyrażały myśl dostępną prostaczkom, szukającą oddawna najwłaściwszego wyrazu.

Smutniejszemi są wogóle losy i wszelkich szczytnych wytworów ducha, a wielcy „odkrywcy" i „wynalazcy" w dziedzinie tej do najbardziej godnych pożałowania mogą być zaliczeni. Nie widzą oni naprzód najczęściej zastosowania w życiu swych wielkich pomysłów, nie oglądają owoców własnych usiłowań; najlichsza sztuczka patentowana, najskromniejszy wynalazek techniczny, grosz kosztujący guzik modny lub coś podobnego, wnet zostaną zużytkowane przez ogół i znajdą swe natychmiastowe zastosowanie do celów życia. Proszę się przypatrzeć natomiast losom wielkich idei, szczytnym kombinacyom myślowym. Niechby większość z pośród nich przepadała marnie i kurzem wieków, jak sprzęt bezużyteczny, pokrywała się: to jeszcze nie tak byłoby smutnem! Gorszem o wiele jest to, że idee te wcielane w życie, przybierające kształty widzialne, są tak haniebnie wykoszlawiane, że autorowie ich odwróciliby się od wcieleń tych ze wstrętem, gdyby się z niemi spotkali oko w oko. Dowodów na to długo szukać nie trzeba. Wzniosłe myśli i „odkrycia" w sferze ducha takich ludzi, jak Lessing, Herder, Schiller, Fichte i t. p... obudziły nowe życie wśród upośledzonego podówczas duchowo narodu niemieckiego, wytworzyły w jego łonie mnóztwo szczytnych chęci i pragnień. Cóż jednak stało się z niemi, gdy ich wcielaniem w kształty zbiorowego życia zajęli się naprzód tacy ludzie, jak baron Stein, a później tacy, jak Bismarck i t. p.? Śladu ich pierwiastkowej „boskości" niktby się teraz nie doszukał, nikt nie domyślałby się źródła, z którego pochodzą. A z ideami ludzi ze schyłku ubiegłego wieku co się stało, gdy przeszły przez laboratoryum napoleońskie, albo z temi, jakich tyle wszędzie wygłosił rok 48, gdy wcieliły się w formy ostatniego cesarstwa, lub przybrały postawę teraźniejszego nacyonalnego liberała pruskiego, niegdyś rzecznika deputowanych sejmu frankfurtskiego? Przegląd tego rodzaju dziejów „idei" wiele podobnych potworności by nam odsłonił.

Z ideami pochodzącemi od poetów dzieje się jeszcze gorzej. Wszyscy je wielbią, wynoszą pod niebiosa, zachwycają się, — deklamują w tysiącznych odmianach i.... tylko! Taki już stosunek wytworzył się między ogółem a poetami, — to, co od nich pochodzi nie zobowiązuje nikogo. Dość jest unosić się nad tem i podziwiać, to już wiele znaczy. Poezya właśnie dla tego taki urok na ludzi wywiera, że wielbiący ją nie widzą w niej surowego cenzora, któryby ich zmuszał do stosowania w życiu zasad podziwianych. To tak wygodnie obcować z wzniosłemi rzeczami, przenosić się przy pomocy cudzych myśli w krainy piękna ducho-

---

Clisci spierali się o zastępstwo Ummallida w czynności ósmego nosiciela.

Ummalido zbliżył się do kłócących się. Zgruchotana ręka zwiesiła mu się wzdłuż bioder — a drugą torował sobie drogę. Głosem spokojnym powiedział:

— Miejsce do mnie należy!

I podstawił lewe ramię, by podtrzymywać patrona parafii. Zaciskał zęby, starając się zdusić swój ból dzikim wysiłkiem woli.

Mattala zapytał go:

— Co chcesz robić?

— Co się będzie podobać św. Gonzalwowi.

I puścił się w pochód w szeregu z drugimi.

Gdy przechodził, tłum przyglądał mu się zdumiony. Widząc czerniejącą już ranę, z której krew ciekła kroplami, ludzie co chwila pytali:

— Co ci jest, Ummalido?

Nie odpowiadał. Szedł przed siebie poważnie, krokiem miarowym, w takt muzyki z pewnym zamętem w myślach, pod szelestem szerokich pikowanych kołder, bujających w wichrze, w tłumie, który coraz bardziej zbijał się i zgęszczał.

Nagle upadł w którymś zaułków. Święty zatrzymał się na chwilę, chwiał się przez pewien czas śród popychania i szturchania, wreszcie popłynął dalej. Mattia Scaffarola zajął opróżnione miejsce.

Dwaj krewni podźwignęli zemdlonego i zanieśli go do sąsiedniego domu.

Anna de Cenzo, staruszka doświadczona w opatrywaniu ran, obejrzawszy bezkształtną i zakrwawioną kończynę, pokręciła głową.

— Ja tu nic nie pomogę, powiedziała.

Na wypadek tej miary sztuka jej nie miała już żadnych środków.

Ummalido, który już powrócił do przytomności, nie otwierał ust. Siedząc spoglądał spokojnie na swoją ranę. Ręka jego zwisała, z połamanemi kośćmi, — stracona na zawsze.

Dwoje czy troje wieśniaków przyszło odwiedzić chorego. Każdy z nich wyrażał słowami lub ruchem tę samą myśl:

Ummalido spytał:

— Kto niósł świętego?

Odpowiedzieli mu:

— Mattia Scoffarola.

Spytał jeszcze:

— A teraz co robią?

Odprawiają nieszpory z muzyką.

Wieśniacy pożegnali się z nim i poszli na nieszpory. Bicie dzwonów dolatywało z kościoła parafialnego. Jeden z krewnych postawił wiadro zimnej wody obok rannego i rzekł:

— Maczaj w niem rękę. Wrócimy niedługo. Pójdziemy na nieszpory.

Ummalido został sam. Głos dzwonów stawał się coraz donośniejszy. Światło dnia zaczynało gasnąć, drzewo oliwne, szarpane wichrem, uderzało konarami o niskie okna.

Ummalido, zawsze siedzący, maczał swą rękę w wodzie. W miarę jak skrzepła krew tając spływała z rany, zniszczenie okazywało się jeszcze straszniejszem.

Ummalido myślał:

— Wszystko daremne. Ręka jest stracona. Święty Gonzalwie, Tobie ją ofiaruję.

Po chwili wziąwszy nóż, wyszedł z domu. Ulice były puste. Wszyscy pobożni poszli do kościoła. Ponad dachami płynęły fioletowe obłoki wrześniowych półmroków, — obłoki o twarzach zwierząt.

W kościele tłum śpiewał w ścisku, chórem zawodząc w regularnych odstępach czasu. Wrzące ciepło parowało z nagromadzonych ciał ludzkich i z płomieni świec. Srebrna głowa świętego Gonzalwa świeciła w powietrzu jak latarnia morska...

Ummalido wszedł. Przesuwając się śród ogólnego zdziwienia udał się do ołtarza i trzymając nóż w lewej ręce, wyrzekł głosem donośnym:

— Święty Gonzalwie, Tobie ją ofiaruję.

I powoli jął przerzynać ściągna około przeguba prawej ręki, — w oczach ludu drżącego z przerażenia.

Bezkształtna ręka odrywała się coraz bardziej, oblewając się potokami krwi. Przez chwilę wisiała jeszcze zawieszona na paru włóknach mięśni, potem spadła na miedzianą tacę, postawioną u stóp patrona celem zbierania ofiar pieniężnych.

Wtedy Ummalido wzniósł do góry swe straszne okaleczone ramię i powtórzył raz jeszcze dobitnym głosem:

— Święty Gonzalwie, Tobie ją ofiaruję.

---

wego, ocierać się o szczytność, wielkość, niepospolitość itp. — a jednocześnie czuć, że to się wszystko za darmo dostaje, nie stawia woli trudnych do urzeczywistnienia zadań, nie ćwiczy skóry zmuszając do wysiłków. Wszak po każdem otarciu się o rzeczy wzniosłe i wielkie, już przez samo z niemi obcowanie, wychodzi się lepszym i odrodzonym, pocóż więc myśleć o ich urzeczywistnianiu? Tak mniema większość i rozkoszuje się utworami poetów, jako czemś bardzo miłem i nieobciążającem życia dokuczliwemi zobowiązaniami. Pocóż zresztą myśleć o nich, kiedy ogół wie dobrze, że poeci, przemawiając podniośle, nie zawsze mają poważne intencye, że oni niekiedy „żartują“, mają swoje „kaprysy“ i „fantazye“ jako ludzie niezwykłej ulepieni gliny? Oni to tak sobie powiedzieli — mniema ogół — dla tego, że to ładne, pociągające i może się podobać. Powiada także ogół, że szczytne myśli i pragnienia, głoszone przez poetów, mogą tylko obowiązywać, do kierowania się niemi w życiu, ludzi w y j ą t k o w y c h, a nie zwyczajnych śmiertelników. To takie wzniosłe i niedościgłe, powiada niejeden, że samo patrzenie sprawia zawrót głowy, cóż dopiero wywołałoby urzeczywistnianie? Gdzież nam biednym robakom marzyć o czemś podobnem: to nie dla nas! — niech każdy świerszcz siedzi w swojej dziurze! bylebyśmy bez większego grzechu potrafili pełzać po ziemi, co tam myśleć o wznoszeniu się na szczyty; niech się inni tem zajmują. Oto są apostrofy ogółu wobec szczytności poetów! — tak większość zapatruje się na ich podniebne wzloty!... I ma nieraz słuszność. Niemało jest i takich, których pociąga strona deklamacyjna poetyckich rojeń: ci są „nie od tego“, by w odpowiedniej chwili powołać się z emfazą i rozdarciem szat, na ten lub inny „wspaniały“ ustęp poetycki, by nim zakląć na wieki to lub owo, rozrzewnić nim samego siebie i innych, udzielić im „bozkiego ognia“ i „świętego zapału“. Ale to całe deklamujące szubrawstwo, wie o tem najlepiej, z własnego doświadczenia, że na tem tylko można poprzestać i że „wspaniałe“ kawałki niebezpieczeństwa żadnego nie przedstawiają. Jedni podziwiają tylko poetów, drudzy używają ich jako znakomitych pirotechników, inni znowu — i to są najliczniejsi — powiadają: że poezya, panie dobrodzieju, może się przydać na coś w zmroku, zwłaszcza i przy kominku, kiedy człek, trawiąc spokojnie, skłonnym bywa do niezwykłych marzeń, — nie wiele jednak warta w ciężkich zapasach o chleb. Są następnie i tacy, co szukają w niej pokrzepienia moralnego i oderwania się od powszednich warunków istnienia; najmniej liczni są jednak ci, coby się nią przejmowali jako czemś takiem, co jest prawem i regulatorem ich życia.

Rozejrzyjmy się dokoła nas samych: oczom naszym przedstanie widok w istocie „wspaniały“. Czy mało n. p. osób, z najbliższego otoczenia choćby współczesnego poety, unosiło się nad takim n. p. ustępem „szczytnym“ jego utworu, jak ten:

„Lepiej być stokroć oplwanym przed śmiercią, niż okupywać życie plwaniem na tych, co za nas giną“. (Przez sławnego niegdyś „Lasika“.)

A czy wiele tych osób — nie wyłączając samego autora — uniesieniu swemu, wywołanemu przytoczonym ustępem, dawało w życiu zgodny z niem wyraz? Nie trzeba nawet odpowiadać na to.... Niema, zdaje się, wśród nas człowieka inteligentnego, któryby nie wskazywał na dzieła trzech niegasnących gwiazd naszego Parnasu, jako na źródło podniosłych myśli, szlachetnych pragnień i ewangielickich niemal przepisów. Wszyscy kierownicy naszego sumienia zbiorowego, od p. L. Straszewicza dajmy na to, aż do p. St. Koźmiana (bierzemy mniej więcej ludzi jednej kategoryi) ukamienowaliby z namaszczeniem każdego, ktoby był przeciwnego zdania. A proszę zaproponować tym panom mniej platoniczne przejęcie się tem, co wyrażał Mickiewicz, choćby w „Trybunie Ludów“ — zobaczylibyśmy wtedy, jak wyciągnęłyby się oblicza tych szanownych panów! — Ten i ów u nas będzie n. p. z pietyzmem niedościgłym. zbierać wszelkie drobne szczegóły i szczególiki dotyczące życia J. Słowackiego — przypuśćmy — będzie zachwycał się subtelnością jego uczuć i podniosłością pragnień i gotów oczy wydrapać temu, ktoby śmiał sceptyczniej na to się zapatrywać; niechby jednak poczuł w sobie podobny nastrój w jakim był wielki poeta, pisząc swą odpowiedź „Autorowi trzech psalmów“ lub coś podobnego, — a zdziwiłby się sam, zkąd mu to się wzięło, co za niełaska niebios nań spadła, i... przeląkłby się podobnych nawiedzeń! A cóżby się stało z niewzruszoną lojalnością hr. St. Tarnowskiego, wielbiącego Z. Krasińskiego, gdyby go tak na seryo wzięły w obroty rozmaite „przedświty“ i t. p. pienia? Nic się nie dzieje z hr. Tarnowskim, przesiąkniętym myślami Zygmunta, jak nic z większością tych, co u nas niby to wciąż czerpią natchnienie z dzieł nieśmiertelnych naszych pieśniarzy! — po co tu gromadzić dowody? — najwięksi i najpotężniejsi pieśniarze nie działają, cóż więc wymagać od pomniejszych?!...

Dawniejsi byli prawdziwymi mocarzami ducha, orłami unoszącymi ludzi wysoko, na swych skrzydłach potężnych; gdy zaintonowali pieśń jaką, to nie jednemu, w istocie, mogłoby się wydać, że od jej dźwięków runą i rozpadną się w gruzy mury jakiegoś Jerycho. Teraźniejsi nawet złudzenia czegoś podobnego wywołać nie mogą. Wdzięczni, gdy opowiadają nam o smutnych losach „dwóch listków“, co chociaż płyną w jednym prądzie nigdy jednak się nie spotkają i mówią nam o tem, że „serce jest jak kwiat, a szczęście jak motylek“ i t. p.; niezrównani w wyrażaniu wszelkich tęsknot ducha i zwątpień myśli, potężni nawet, gdy przeklinają trapiące ich nędze, — po za cierpiące na hypertrofię indywidualności własne, po za ich potrzeby i cele rzadko przechodzą. Zaczną nieraz w młodszym wieku od szumnych wykrzykników i wybuchów obiecujących i kończą najczęściej na szczerych wyznaniach, że:
„Jedno mam tylko pragnienie — rozkoszy“; na wylewaniu „nadmiaru wstrętu do życia codziennej podłości“, o której zmniejszeniu wcale nie myślą; na — nieśmiertelnym komunale o nicości ludzkiego istnienia etc. etc..

Takiemi są dzisiejsi „królowie ducha“ — pieśniarze — bohaterowie! Ani więc ich witać z zapałem i rozradowaniem takiem, jak się wita prawdziwych odnowicieli życia ludzkiego, ani upodabniać bohaterom, niema najmniejszego powodu. Raczej — patrząc z jednej strony na to, jak słaby oddźwięk znajduje pieśń poety wśród ludzi, z drugiej na własne jego słabostki, upadki i głos przytłumiony, chce mu się poradzić, by „cisnął w Letę swój bardon głuchy“, by go strzaskał i śpiewać się oduczył!...

Lecz przyjdzie godzina.... Bohaterowie zgotują ją poecie; wtedy on g o d z i n ę tę wyśpiewa, unieśmiertelni jej sprawców i siebie samego. To główne jego zadanie!

Władysław Jabłonowski.

Z literatury czeskiej.

(Masaryk: „Czeska otazka“ i „Nasz kryzys“.)

Niedawno w „Przeglądzie Poznańskim“ p. Leon Wasilewski umieścił artykuł p. t. „Stosunki partyjne Czech“, w którym między innemi mówi o realistach i ich przywódzcy *prof. Masaryku.*

Złożywszy w roku 1893 mandat poselski, prof. M. oddał się pracy literackiej i oddziaływaniu żywem słowem z katedry uniwersyteckiej na młodzież, z której chciałby ukształcić sforny i rozumny szereg oddanych sprawie społecznej jednostek, i w taki sposób stworzyć niejako dla siebie sprzymierzeńców.

W tym też może celu M. wydał w tym roku dwie książki „Czeska otazka“ i „Nasz kryzys“, w których wytyka rodakom wady i wskazuje kierunek postępowania, wyznaczony już niemal Czechom przez wielkich ojców ich odrodzenia.

Prof. M. poczyna od doby odrodzenia, od prac Dobrowskiego, dowodząc cytatami, że podstawą poglądów wskrzesicieli żywota czeskiego była humanitarność i oświata.

Od humanitarności Dobrowskeho, od humanitarności a słowiańśtwa Kollara i Szafarzyka, Czesi dzięki Palackemu i Hawliczkowi doszli do siebie, do czeskości. „Jestem Czech, a nie Słowianin“ rzekł dobitnie Hawliczek.

Dobrowsky, a dalej Kollar i Szafarzyk mieli program narodowościowy, wyłącznie kulturalny; Palacky pierwszy przyłącza doń program polityczny — ideę federacyjnego państwa rakuskiego, stawiając ją przeciw pangermanizmowi i panrusyzmowi (chociaż co prawda później w r. 1872 Palacky był gotów na połączenie, choć nie na zlanie się z Rosyą). Z chwilą powstania programu politycznego, szlachta czeska poczęła nabierać znaczenia, boć w jej to najwięcej rękach była niegdyś moc polityczna. Ale szlachta, głosząc przez usta wielu przedstawicieli, jak np. hr. Thuna: „Ich bin weder ein Czeche, noch ein Deutscher, sondern ein Böhme“ i chcąc stanąć ponad Niemcami i Czechami — być niejako między nimi pośrednikiem — nie znalazła poparcia śród ludu, przeciwnie — jego niechęć.

Kiedy nastąpiła reakcya bachowska, szlachta i wielu wybitnych patryotów (sam Palacky) przycichło. Z placu nie ustąpił tylko Hawliczek, będący również, jak Palacky, za federacyą narodów państwa austryackiego. Ale Hawliczek był zarazem więcej postępowy. ludowy, demokratyczny (wówczas gdy Palacky powoli zbliżył się do arystokracyi, skonserwatywniał) socyalny (Hawliczek jest n. p. za powszechnem prawem wyborczem, Palacky — przeciw) a mniej hołdujący historyzmowi, badający wprawdzie przeszłość, ale nie zapominający i o teraźniejszości (co jest dewizą i samego Masaryka). Hawliczek najwięcej zbliża się do pojęć nowszych.

Z tem wszystkiem Hawliczek pracował wespół z Palackym, jeno o wiele radykalniej, rzekłem już, ludowiej. Ludowość bowiem, aczkolwiek jeszcze pojmowana więcej politycznie niż socyalnie, była głównym punktem jego polityki.

Palacky i Hawliczek uważani są. pierwszy za nauczyciela Staro-, drugi Młodoczechów, chociaż, jak mówi prof. M. „ojcowie nie cieszyliby się z dalszego rozwoju swych duchowych dzieci“.

Oświata, moralność i usilna praca wewnętrzna oto hasła Palackiego i Hawliczka w dążeniu Czechów do wybicia się zupełnego. Dzieci zapomniały o treści haseł, zatrzymując dla siebie jedynie nazwę stronnictw staro- i młodoczeskiego.

W dalszym ciągu prof. M. przedstawia różne teraźniejsze stronnictwa i ich stosunek względem siebie, (o czem jednakże niedawno wspominał już p. Leon Wasilewski) przedstawia niejako ostatnią dobę odrodzenia, ciągnącą się od lat osiemdziesięciu do dziś. Doba ta charakteryzuje się, mówi M., zagajeniem polityki czynnej we Wiedniu i dokończeniem rozwoju organizacyi wyższych zakładów naukowych czeskich (uniwersytetu). W czasie tym począł się spór o prawdziwość rękopisów Królodworskiego i Zielonodworskiego, spór nauki z płytką żurnalistyką. Powoli z tego sporu ukształcił się nowy kierunek krytyczny i naukowy, zwany realizmem. Realizm stał się nie tyle stronnictwem, ile kierunkiem, metodą.

Pod jego wpływem pojawiły się inne kierunki, mniej lub więcej postępowe i radykalne, powstała, można powiedzieć, rewolucya literacka, bój krytyczny o bezkrytycznie wyniesione autorytety (np. Vrchlicky), bój przeciw zaśniedziałości starszych. Młodsi idą ciągle naprzód, zdobywając dla siebie coraz więcej gruntu.

Dalej, prof. M. wyjaśnia, że rusofilizm czeski jest szkodliwy i na niczem nieoparty. Ani na rozumieniu Rosyi — Czesi zbyt mało ją znają, ani nawet na pojęciach wskrzesicieli narodu czeskiego, którzy jak np. Hawliczek mówili po prostu: „Jestem Czech, a nie Słowianin“. Wprawdzie w szeregu ich uczonych byli i rusofilowie (choć znów nie zbyt dużo), ale 1) na początku XIX stulecia ogólnie pokładano wielkie nadzieje w Rosyi, wierzono w bliskie przyjście

Mesyjasza Słowiaństwa; 2) słaby po wiekowym letargu ledwie poczynający pełzać naród czeski mimowoli, kierując się niejako instynktem samozachowawczym, poglądał ku bratniemu państwu, ku Rosyi, której zazdrościł silnych bar niedźwiedzich. Dziś zaś, kiedy Czesi uczuli już swą moc, powinni zwrócić uwagę na siłę więcej moralną i umysłową, niż fizyczną. Bo zresztą dziś, mówi prof. M., Rosya nawet nas nie weźmie, ona nie dba o 6—10 mil. katolików, którzy prawdopodobnie połączyliby się z Polakami, jak to czynią emigranci czescy na Wołyniu. A jeśli weźmie, to zgodnie z słowami prof. Łamańskiego przekształci Czechy na gubernie rosyjskie.

Niemcom też nie zależy na austryackich katolikach, bo wtedy byłoby ich w Niemczech więcej niż protestantów.

A więc Czesi powinni trzymać się Austryi i w jej obrębie dbać o swój rozwój. Chociaż bowiem brak nam wiele, mówi M., jednak na gruncie parlamentarnym możemy się dobijać pokojowo, ale bez przerwy, systematycznie, krok za krokiem, zbywających nam jeszcze praw. Z tem wszystkiem nie powinniśmy zapominać o ogólnej pracy narodowej, nie powinniśmy oddawać się zbytnio samej tylko polityce, bo ona jest jeno cząstką pracy narodowej, ważną, ale nie najważniejszą i jedyną, mówi M. „Samodzielność państwowa nie zbawi nas i nie utrzyma“. „Mieliśmy swe państwo, a straciliśmy je.“ To jednak nie znaczy, aby M. nie był za zrealizowaniem państwa czeskiego, nie! ale chciałby ukształcić swój lud, bo jak się zdaje podziela on opinię Spencera, że ludzie nie potrafią korzystać z swobody, o ile nie są do tego odpowiednio przygotowani. Zadaniem Czechów według M. kroczyć po drodze Husa, wytkniętej na nowo przez Palackiego i Hawlíczka, poprawiając, rozumie się, ich program stosownie do nowszych pojęć i żądań.

Nie odosobnianie, nie zaskorupianie, ale „światowa centralizacya“ Palackiego t. j. ciągła styczność z światem przemysłowym, handlowym i umysłowym ma i dziś toż samo znaczenie, jakie Palacky przypisywał jej przed dwudziestu kilku laty.

Oprócz rusofilstwa w znaczeniu oczekiwania pomocy od Rosyi i przyłączenia się do niej, t. zw. cyryllometodeizm zapuścił pewne korzenie na Morawie. Prof. M. napada wogóle na Czechów za zbyt ekscentryczne i bezkrytyczne hołdowanie historyi. Czesi wynoszą pod niebiosa swych wskrzesicieli, ale żaden z Staro- i Młodoczechów nie zna ich pojęć; nikt nie przestudyował, nikt nie napisał o nich najmniejszej choćby monografii. To niepojmowanie i tę nieświadomość historyi M. wykazuje i co do rozgłaszanej idei cyryllometodejskiej. Czesi mówią, że ich zadaniem prowadzić dalej wypadkami nieszczęśliwymi przerwaną reformacyą Husa. Ale jak tę ich chęć pogodzić logicznie z żądaniem przyjęcia liturgii w języku starosłowiańskim, a dalej przejścia na prawosławie? „Nikt nie zabrania, mówi M., szczerym wyznawcom cyryllometodyzmu żyć i rządzić swą cerkwią według przekonań.“ Ale nie wolno używać go za środek polityczny, a używając opierać swe żądania na historyi, zupełnie mylnie przez quasi-politycznych wyzyskiwaczy przedstawianej.

Hus żądał wprawdzie reform kościelnych, ale uznawał kościół katolicki i nawet głowę Piotrową, o ile ta trzymała się prawa Chrystusowego. Od zasad kościoła prawosławnego różnił się najzupełniej, a co do hierarchii prawosławnej nie mógł jej przyjmować, bo nie przyjmował i katolickiej. Co zaś do języka Hus żądał prawa nauczania ludu w jego języku, żądał języka czeskiego (a nie cerkiewno-słowiańskiego), ponieważ tu język był środkiem przyrodzonym do podniesienia moralności i ducha religijnego, nowi zaś cyryllometodejczycy chcą z przerobionej religii ciągnąć korzyść dla swej polityki.

Gdyby Czesi, tak korzący się przed historyą, zgłębili prace swych odrodzicieli, możeby znaleźliby tam zdania niezgodne z wygłaszanemi przez nich pojęciami. Palacky np. zbadawszy gruntownie te sprawy, doszedł jedynie do przekonania, że u Czechów od dawna bywali ludzie, nie pozwalający się wodzić przez autorytety stolicy rzymskiej.

Wytknąwszy Czechom (staro i młodo) nieuzasadniony ich rusofilizm, cyryllometodeizm, przesadzony historyzm, a zarazem nieznajomość historyi, dalej brak wszechstronnego wykształcenia i samodzielności, bezkrytyczność, ukształcanie mózgów jedynie niemal za pomocą dzienników, dość miernych i stronnych, nareszcie brak obmyślonego programu politycznego, bałamucenie umysłów podawaniem wiadomości fałszowanych i pozostawienie prawie na uboczu potrzeb najniższych warstw społeczeństwa, a natomiast zbyt wielkie natężenie sił, a może tylko nagromadzenie słów w sprawie wywalczenia państwa czeskiego — prof. Masaryk wypowiada niejako nad Staro- i Młodoczechami *requiescat* (nie nad ich istnieniem, ale nad żywotnością ich wpływu). Strona bowiem staroczeska już padła, młodoczeska też traci grunt pod nogami, „bo Młodoczesi są to Staroczesi, jeno o dziesięć lat młodsi“. Mówiąc o Młodoczechach, mam tu zawsze na względzie Młodoczechów oficyalnych, reprezentowanych przez „Nar. Listy“, a nie realistów lub postępowców, którzy jako partya polityczna należą też do Młodoczechów (niejako lewe ich skrzydło), przedstawiających bądź co bądź w stosunku do Staroczechów żywioł więcej postępowy.

W końcu M. zwraca się do ruchu postępowego młodszej generacyi, do studenctwa. W początkach doby odrodzenia, kiedy nie było jeszcze ani kolei, ani dzienników, ani powszechnego wykształcenia elementarnego, studenci byli apostołami idei narodowej, potem zajmowali się sprawami politycznemi, dziś najwięcej socyalnemi. Studenctwo bojuje też żurnalistyką („Nar. Listami“) która dawniej, gdy młodzież nie miała w szkołach swojego języka, służyła mu za przewódzcę w sprawach narodowych, była najdogodniejszą lekturą pisaną po czesku. Dziś płytka żurnalistyka nie wystarcza młodzieży. Ztąd bój jej z Młodoczechami, literatury i nauki z żurnalistyką, dalszy niejako ciąg walki poczętej pierwotnie o rękopisy.

Młodzież postępowa odznacza się wprawdzie jeszcze dotąd eklektyzmem, dyletantyzmem, nieznajomością prac ojców budzicieli i brakiem wykształcenia politycznego. Nie brak jej jednak chęci do pracy; rozumie ona dobrze, że tylko wykształcenie da jej rzeczywiste podstawy do działania, zajmuje się tedy sprawami socyalnemi, literaturą powszechną, prądami nowszych czasów, — jednem słowem, na co bije ciągle Masaryk, młodzież postępowa kształci się nietylko specyalnie, ale i ogólnie, a że przytem przeniknięta jest duchem demokratycznym, ma więc przed sobą przyszłość — i wierzy w nią.

M. wytknąwszy młodzieży postępowej niejednolitość programu, ukształtowanego na znanym zjeździe w Pradze młodzieży słowiańskiej — i chwiejność w postępowaniu, rzuca rady panom studentom jak powinni się kształcić specyalnie i ogólnie, co czerpać, zkąd czerpać, (wskazuje między innemi na literaturę polską, która według słów M. ma wiele dobrego i pięknego w nauce i poezyi; ma dużo zwłaszcza przekładów naukowych, a nawet oryginalnych podręczników, których uczuwa się w Czechach brak wielki; zwraca wreszcie uwagę na małą znajomość języków i zaleca semestr lub dwa posłuchać wykładów na uniwersytecie polskim. Co zaś do polityki radzi mniej zajmować się nią na uniwersytecie czynnie, za to więcej teoretycznie, aby Czesi mieli posłów prawdziwie politycznie ukształconych, bo tylko tacy mogą z korzyścią kontrolować czynność administracyjną i nie dać się otumanić.

Co zaś do polityki wogóle, M. żąda otwartości, jawności (polityka nie powinna być augurstwem) taktyki pokojowej, środków moralnych, żąda reformacyi, nie rewolucyi. Rewolucya według M. to taktyka arystokratyczna, nieludowa, niedemokratyczna, do tego dziś bezmyślna (z powodu udoskonalonej broni), a nakoniec jest ona w sprzeczności z zasadami postępowców. Antimilitaryzm postępowców i rewolucya nie dają się pogodzić. Dziś rewolucya, mówi M., może być tylko środkiem obrony w razie gwałcenia praw, o ile nie ma innego sposobu, a nie środkiem zdobywania praw.

W obu książkach M. przeprowadza stale myśl potrzeby umoralniania i oświecania się Czechów, wykształcenia nietylko specyalnego, lecz i ogólnego literacko-filozoficznego. Zadaniem Czechów, że powtórzę raz jeszcze słowa Masaryka, kroczyć na drodze reformacyi Husa, podnieść się z upadku, poczętego nie na Białej Górze, lecz w roku 1487, roku prawa, które przemieniło lud w niewolników. Ludowi temu dać praw trochę nie wystarcza. On pracował na nas, my teraz musimy myśleć i pracować nietylko wespół z nim, ale i dla niego (między innemi starać się o coraz większe kształcenie mas — uniwersytety ludowe). A chcąc pracować z korzyścią, trzeba się oświecać i umoralniać. Wogóle M. ciągle wytyka Czechom ich piętę achillesową — brak gruntownego wykształcenia i w walkach politycznych przyszarzoną moralność.

Obie książki pisane są nadzwyczaj spokojnie; wszystkie swe poglądy M. uzasadnia cytatami i zapatrywaniami uczonych; poglądy przeciwników zbija w tenże sposób. A dostaje się tu materyalizmowi, pozytywizmowi, socyalizmowi, gwałtownemu radykalizmowi i innym izmom, jak np. eklektyzm lub dekadentyzm itd.

Wogóle książki prof. M. mieszczą wiele cennych spostrzeżeń i wskazówek, z których bodajby Czesi chcieli korzystać. Wtedy stałaby się snać możliwą wspólna praca czesko-polska nad zdobywaniem praw i rozwoju wewnętrznym obu ludów.

Zyg. Mak.

„TŁUM.“

Konserwatywna publicystyka nasza nie wielu może się wykazać pracownikami o takiej erudycyi, jaką się odznacza najświeższej daty pisarz i bojownik konserwatywnego obozu, emerytowany radzca sądowy namiestnictwa, dr. Bronisław Łoziński. Z wyjątkiem broszury o reformie wyborczej, której wartość polegała wyłącznie na chwilowej aktualności traktowanego w niej zagadnienia, cechuje wszystkie rozprawy p. Łozińskiego iście niemiecka erudycya. Zarówno gruba rozprawa o nieznajomości ustaw („Ignorentia iuris“ Lwów 1893) jak skromniejsze co do objętości dysertacye „O prawie zwierząt“ (Lwów 1895) i o „Tłumie“ (Lwów 1895) składają oczytaniu autora i jego pracowitości mozolnej świadectwo nader chwalebne.

Gdyby z erudycyą i pracowitością zawsze szła w parze bystrość — możnaby p. Łozińskiego nazwać publicystą naprawdę wyjątkowym w galicyjskich stosunkach. Niestety jednakże często bywa inaczej. Pod natłokiem cytat i wyciągów, pod brzemieniem materyału zebranego z różnych uczonych książek — niknie często myśl oryginalna i cała uczoność niejednego erudyta nie wynagradza dla braku jasnego na rzecz poglądu!

Pan dr. Łoziński należy do pisarzy, u których z uczonością idzie w parę — dobra wola. I to już znaczy bardzo wiele — zwłaszcza u nas! Szkoda jednak, że na usługi tej dobrej swojej woli nie ma p. Ł. bystrego i na wysokości dzisiejszych wymagań stojącego poglądu na świat i ludzi; szkoda, że erudycya jego, czerpana z niezliczonej masy mniej lub więcej grubych ksiąg i broszur zamknięta jest w zacieśnionej atmosferze wstecznych i z duchem czasu niezgodnych zapatrywań, którym brak świeżości, płynącej jedynie z bezpośredniej obserwacyi życia, z bezpośredniego z niem zetknięcia, z gorącego przejęcia się sprawami społecznemi nietylko teoretycznego, lecz także — praktycznego.

Pan Łoziński, siedzący przy biurku swojem w otoczeniu grubych foliałów i zatopiony w badaniu mądrości filozofujących teoretyków, ważący roztropnie zdania „pro“ i „contra“ przeciwników lub zwolenników wybranej przez siebie tezy — ani się domyśla, że tymczasem za oknem jego gabinetu życie zadaje kłam najwy-

mowniejszym teoryom i kpi sobie z wszelkich ram, w które chcianoby ująć jego objawy.

Powiadam „tezy“, gdyż z całego tonu broszur p. Łozińskiego jak i z zawartej w nich erudycyi łatwo spostrzedz się daje apriorystyczna metoda autora. Pan dr. Łoziński jest erudytą, ale erudycya to nabywana: von Fall zu Fall — w miarę potrzeby o ile i w jakim kierunku wymaga tego dany przedmiot. Metodę tę wyobrażam sobie w ten sposób, że p. Ł. zamierzając pisać np. o „tłumie“ prawdopodobnie e x r e jakiegoś nowo wydanego dzieła — tym razem była niem niezawodnie najnowsza książka Scipiona Sighele „Tłum zbrodniczy“ *) — zapoznaje się z szeregiem książek, traktujących o tym samym przedmiocie i poczyniwszy odpowiednie studya teoretyczne siada do pracy. W ciągu paru dni powstaje w ten sposób pokaźna broszura, będąca streszczeniem kilku lub kilkunastu innych książek, naszpikowana cytatami, tytułami i datami — czyli „pełna olbrzymiej erudycyi i zdumiewająca rozległością zużytkowanego w niej materyału“. Zauważyć należy, że na taką erudycyę zdobyć się nie trudno, — nawet laikowi; gdy jednak p. Łoziński i n l i t e r a r i i s e t p u b l i c i s jest bądź co bądź także nowicyuszem, tedy nie czynimy mu z tego zarzutu, ale poprzestajemy na powyższej uwadze.

Nie jako zarzut też poważny, ale jako uwagę skromną podnieść muszę inną także okoliczność dotyczącą sposobu metody pisania, jakiej się trzyma p. Łoziński. Do dr. Łozińskiego dałoby się z całą racyą zastosować zdanie: że pisma jego zawdzięczają swoje istnienie wynalazkowi cudzysłowów w druku. Gdyby nie ten potulny znaczek pisarski — nie wiem, jakby wyglądały broszury p. Ł: zmalałyby chyba z 80 stronnic na dwadzieścia, a i na tych dwudziestu spotkaćby się musiano z wielu nieoryginalnemi zdaniami. Czytelnika broszur pana Ł. od razu uderza częste używanie cudzysłowów, świadczące wprawdzie o wielkiej sumienności autora, do której nie przyzwyczaili nas chyba publicyści galicyjscy: — lecz pozwalające łatwo odgadnąć . . . źródła jego mądrości.

Szczególniej uderza ten system w ostatniej broszurze dr. Łozińskiego pt. „Tłum“**). Chcąc dać miarę erudycyi zawartej w tej broszurze, liczącej raptem 80 stronnic wyraźnego druku, zadałem sobie trud skonstatowania, ilu autorów p. Ł. cytuje i wspomina w tej rozprawce. Otóż nie mniej i nie więcej jak 25ciu. To mi się nazywa erudycya! Każda niemal stronnica poświęcona jest bądź cytacie, bądź wspomnieniu jednego z autorów, a samo przytoczenie ich nazwisk na tem miejscu dałoby wyobrażenie o „zdumiewająco rozległym materyale“, którym się posługuje dr. Łoziński przy budowaniu „swoich“ teoremów.

Mając pod ręką tak bogaty i dobrany materyał mógł p. Ł. z łatwością zabrać się do roztrząsania teoryi o supremacyi czyli przewadze tłumu w życiu społecznem. Uczynił to też z rozmachem, znamionującym zasobnego w siły i chęć do boju publicystę i nie puścił płazem prawie żadnemu z cytowanych autorów, nawet tym, z którymi, jak z Nordauem i Spencerem, zgadza się w zasadniczym na powyższą kwestyę poglądzie. Najwięcej stosunkowo uwagi, a zatem i miejsca w swej broszurze poświęcił dr. Łoziński: Tarde'owi, Joly'emu, Sighele'mu i Tournalowi; dwom ostatnim dostały się też najgorsze cięgi.

Główne zasady, na których p. Ł. opiera swoje zapatrywanie na rolę tłumu czyli masy w życiu społecznem, a raczej swoją krytykę zapatrywań cudzych są następujące:

Zasada supremacyi większości we wszystkich zakresach życia, odgrywa obecnie rolę panującą. Zasada ta obwarowana jest nietylko sankcyą konwenansową w życiu towarzyskiem, lecz także prawną i moralną na całym obszarze życia publicznego.

*) Przekład polski ukazał się niedawno w Warszawie. Zamieściliśmy przed kilku miesiącami obszerne streszczenie. Przyp. Red.

**) Tłum. Szkic socyologiczny. Kraków 1895; 8°, str. 80.

Owoż, czy zasada ta stanowi formułę niezachwianą w swojej powadze, zwłaszcza w chwili obecnej? Nie! albowiem Franck w dziele swojem „Filozofia prawa karnego“ (P h i l o s o p h i e d u d r o i t p e n a l) na str. 20 tomu 2go powiada: że zarówno jak jednostki tak i ciała reprezentacyjne, rządzące się zasadą supremacyi większości, nadużywały hasła dobra publicznego do okrutnych lub niegodziwych celów, skutkiem czego hasło to stało się „formułą piekielną“ (str. 7—9).

Czy zasadę większości uważać można za pewnik matematyczny? Oczywiście, że nie — choćby dla tego, że ma się w życiu do czynienia z ludźmi, a nie z cyframi, a nadto dr. H. Rosin w rozprawie „Minoritätenvertretung und Proportionalwahlen“ krytykuje zasady supremacyi większości, ograniczając zresztą swoje aspiracye jedynie do żądania ulgi w tej przewadze przez zapewnienie jakiejś takiej reprezentacyi dla mniejszości (str. 11) a oprócz niego druzgocą tę zasadę w swoich dziełach takie powagi jak Mill, Spencer, Holtzendorf, Nordan itd. itd.

Czy tedy zasada supremacyi większości da się zastąpić inną? — Nie, bo w społeczeństwie z samorządnym ustrojem życia publicznego zasada to podstawowa, bez której ustrój taki pomyśleć się nie da — więc?...

Na tem pytaniu zatrzymuje się autor, poddając krytyce obecne wykwity „supremacyi większości“, mianowicie „najświetniejszą widownię panowania zasady większości“ — parlamenty tegoczesne. Sąd p. dr. Łozińskiego jest w tym punkcie tak dosadny, że nie waham się podać go in extenso w cudzysłowie: „Jeżeliby (parlamenty tegoczesne) reprezentowały, jakby się to wydawać mogło, ekstrakt inteligencyi społeczeństwa, to ich reputacya nie mogłaby była już za życia jednego pokolenia upaść tak nizko, jak to dziś wszędzie widzimy. Miarą tego upadku jest ustawodawstwo, dziryt działalności parlamentów, praca, której ani same dobre chęci, ani nawet takie chęci połączone z bogatym zasobem doświadczenia, podołać nie mogą, jeżeli nie przyjdzie im w pomoc zorganizowane współdziałanie prawdziwej a szerszej (?) inteligencyi. A jakże wygląda to dzisiejsze ustawodawstwo parlamentarne? Zamiast odpowiedzi postawmy od razu dalsze pytanie: czy mogłoby ono jeszcze być gorsze, aniżeli jest dzisiaj?...“

Skoro takie są owoce owej rzekomej supremacyi większości, którą p. Ł. upatruje w dzisiejszym ustroju, to może jest on zwolennikiem indywidualizmu w życiu społecznem? I tak i nie! Poglądy Spencera, stającego w obronie najzupełniejszej niezawisłości „jednostki wobec państwa“ przypadają wprawdzie do smaku panu Ł., lecz nie ma on odwagi zgodzić się także na konsekwencye tych poglądów. Przeciwnie, owa brutalność indywidualna, która raz pod maską genialności (Bismark), innym razem zaś pod osłoną sprytu lub kuglarstwa nadużywa zasady większości dla zdobycia sobie pewnego rodzaju jedynowładztwa — wydaje się panu Ł. „deponacyą zasady większości“.

I tak źle i tak nie dobrze; najgroźniej jednak przedstawia się panu Ł. niebezpieczeństwo skutkiem „brutalnej przewagi“ żywiołów prewrotu, gotowych nawet — do teroryzmu, albowiem klasa robotnicza, doszedłszy do poznania, że obecny ustrój społeczny przyznał władzę absolutną — liczbie, wprowadzając prawo większości w miejsce władzy samodzierżnej — i uważając się za najliczniejszych, żąda — jak to stwierdza Sighele! — na podstawie logiki, którą się rządzą inne klasy, daleko więcej praw i przywilejów, aniżeli dotąd posiada!

Wobec takiej zuchwałości — supremacya większości stanowczo groźną jest dla ludzkości!

Więcej niż połowę swojej rozprawy poświęca p. Łoziński rozbiorowi różnych teoryi o tłumie zbrodniczym, wychodząc widocznie z tego założenia, że masa jako taka jest już sama przez się przedmiotem kryminologii. W wywodach swoich potakuje p. Ł. oczywiście tym autorom, których zdanie podziela, zarzucając natomiast parodoksalność tym, którzy w tłumie widzą zbiorowisko (amalgament) ludzkie z zupełnie samodzielnym ustrojem psychicznym. W zachwyt wprowadza go za to „głębokie“ zdanie Bernarda de Glajeur, b. prezydenta trybunału apelacyjnego w Paryżu, iż „w skupieniu się ludzi wytwarza się zgnilizna tak samo, jak w jabłkach, leżących obok siebie“. (Str. 64).

Za pomocą argumentacyi, której próbkę przedstawiłem czytelnikom, streszczając powyżej pokrótce główne punkta wywodów p. Łozińskiego, dochodzi autor „Juri ignorantiae“ także do wniosków „politycznych“. Stwierdziwszy na podstawie zdań, zaczerpniętych z dzieł Tarde'a, Proala i t. d., że właściwym kotłem, w którym się wytwarza dzisiaj tłum — są miasta, będące wyobrażeniem „luźnego agregatu ludzkiego“, podczas gdy rodzina, „owa za świadectwem historyi prawa (!) od początków bytu ludzkości niezmienna w swoich funkcyach komórka organizmu społecznego“ skupia się na wsi, i zaakcentowawszy wątpliwość swoję, czy ten a ten szereg jest „niewzruszonem znamieniem całej fazy społecznego rozwoju“, czy też tylko „dowodem zaniedbania moralnej strony wychowania społecznego, które jeszcze z pomocą bożą da się naprawić, wypowiada dr. Łoziński szereg oklepanych „uwag“ i podaje rady praktyczne: jak najlepiej możnaby odsunąć tłum — zdaniem p. dr. Ł. zawsze mniej lub więcej „zbrodniczy“ — od udziału w urzędach i w życiu społecznem.

Poglądy pana Łozińskiego osiągają swój punkt — że się tak wyrażę — kulminacyjny w zdaniu, że dzisiejsza, ogromnie wybitna (!?) rola tłumu w sprawach publicznych, jest widomą oznaką atawizmu społecznego, oderwaniem się instynktów pierwotnego stanu ludzkości, „jakim w zakresie indywidualnym mogłaby być... zbrodnia“ (!); — jednym ze znaczących symptomów obecnej niezdrowej sytuacyi społecznej, której zdrowiu tak bardzo — zdaniem p. dr. Łozińskiego — zagraża... tłum.

Gdybyśmy mieli wątpliwość co do istotnego znaczenia tych „prawd“ oklepanych, świeżo teraz „wynalezionych“ przez p. Łozińskiego i co do celów, jakie ma na oku w swej rozprawie, to rozwiać nam muszą iluzyę ostatecznie konkluzye praktyczne, do których p. Ł. dochodzi.

Dr. Łoziński przez wyraz „tłum“ rozumie tę większość, którą stanowią t. zw. niższe warstwy społeczeństwa, a więc w pierwszym rzędzie — masy ludu pracującego, który dzisiaj już śmie się domagać „daleko więcej praw, aniżeli dotąd posiada“. W nim widzi p. Ł. główne niebezpieczeństwo dla dzisiejszego ustroju — z pośród możliwych najidealniejszego — i z tem się nawet niejednokrotnie w rozprawie swojej zdradza. Zapomniał jednak p. Ł., że poza sferą klerykalno-bankierskich pojęć o wolności i niezależności jednostek od społeczeństwa istnieje przekonanie o wiele silniejsze i bardziej usprawiedliwione, 'że nie społeczność od jednostki, lecz jednostka od społeczności zawisłą być musi w granicach koniecznie dobrem ogółu zakreślonych. Bezmyślne powtarzanie frazesu, że ze zmianą ustroju obecnego indywidualność, dzisiaj już poddana pewnej supremacyi większości, — zduszoną zostanie zupełnie, wyszło już z mody nawet u najpłytszych polemistów dziennikarskich, o czem dr. Ł., jako nowicyusz na polu publicystyki zdaje się nie wiedzieć. Dzisiejsza większość rządząca, owa „przeklęta warstwa większości“ — przeciwko której ognisty protest podniósł Ibsen w swoim „Wrogu ludu“, — rekrutująca się z przedstawicieli warstw „uprzywilejowanych“ nie przeraża jeszcze pana dr. Łozińskiego, choć z lubością wspomina pan Ł. te czasy, gdy i ta chołota milczała pod stopą wszechwładnej autokracyi świeckiej i kościelnej. Niebezpieczeństwo tkwi dla p. Ł. w tej warstwie, która dopiero przyjdzie do steru władzy, a która nie będzie mogła się wylegitymować nawet takiem świadectwem, jakie stanowi tytuł „własności“ dla mieszczańskich zakusów. Przeciwko niej też wymierzonem jest ostrze..... praktyczne długich wywodów pana dr. Łozińskiego, który wypisawszy z dzieł dwudziestu pięciu autorów sentencye o „woli tłumu“ —

zakończa kompilacyę swoją wezwaniem do... władzy bezpieczeństwa, aby pomna zasady, że „lepiej rozumem niż tłumem“ — nie przemawiała do tłumu rozumem, lecz jak tego nakazuje „powaga prawa i władzy jako jego organu“, czuwała nad niedopuszczeniem tłumu do zajęcia się sprawami życia publicznego. „Energiczne wystąpienie organów prawa — cytujemy własne (nie cytowane zkądinąd) słowa dr. Br. Łozińskiego — w porę i ze środkami do danej sytuacyi dobrze zastosowanemi, nigdy nie zawiedzie oczekiwań wobec tłumu.“ (Str. 80).

„Das ist also des Pudels Kern!“ — oto ostateczna konkluzya, do której dochodzi w swych „naukowych“ wywodach świeżo upieczony socyolog galicyjski, em. radzca namiestnictwa, dr. Bronisław Łoziński. Zaiste! o wieleż lepiej brzmi zdanie powyższe od prostego okrzyku filistra małomiasteczkowego, który na widok dysputującego o polityce robotnika wrzeszczy na cały głos: „P o l i z e i!“ Pan Łoziński wie, że tchórzliwy okrzyk, uchodzący zwykłemu „obywatelowi“ — nie przystoi mężowi, strojącemu się w biret powagi naukowej. Dla nieuprzedzonego jednak słuchacza oba te głośne objawy serdecznego strachu mają jednakie znaczenie i nikogo nie zmyli różnica formy, w jakiej przejawia się uczucie — filistrów.

Dr. Ignacy Suesser.

BADANIA NAUKOWE.

Do jasnej góry.*)

Częstochowa w życiu naszego ludu odgrywa olbrzymią rolę. Jest ona duchowym łącznikiem, który swojemi niewidzialnemi nićmi spaja rozproszone i o sobie nie wiedzące osady włościańskie, zbliża je i wiąże w całość ideową. Pobożność tłumów, działając w ciągu wieków, wyżłobiła tam stałe łożyska dla swego nurtu, wyrobiła formy spotkania pątników i wędrówki, wypracowała samorzutną organizacyę. O tem wszystkiem wiemy bardzo mało. Lubo o Częstochowie dużo się mówi, lecz swoją drogą nic a nic nie zrobiono dla zbadania tych stosunków, które zwolna powstały dokoła niej i utrwaliły się z biegiem pokoleń. Książki, poświęcone Jasnej Górze, opowiadają o doznanych cudach lub dziejach klasztoru, wymieniają kosztowne ofiary, któremi magnaterya nasza dziękowała ongi za otrzymaną pomoc. Milczą zaś o wszystkiem, co wychodzi za wązkie koło chronologii ofiarodawczej. Sądzę, że rzadko kto nawet pojął, co za nieocenione źródło zabytków i zwyczajów oczekuje tam badacza. Cała nasza kultura włościańska (istnieje ona bowiem, mimo że „starsi bracia“ w narodzie nie chcą jej przyznać) znalazła swój wyraz najmocniejszy właśnie w czci dla Jasnej Góry, w produkowanych tam dziełach artyzmu religijnego, w ekstazie, ogarniającej pątników. To też z rzeczywistą ciekawością wzięliśmy do ręki książkę p. Władysława Reymonta, w której opisuje on swoją pielgrzymkę wśród takiej gromady pobożnych. Autor puścił się z kompanią, wiedziony chęcią przyjrzenia się duchowej fizygnomii świętej rzeszy i zbadania pulsu, uderzającego tam w zebranym tłumie. Wrażliwy i prosty, posiada on talent podchwytywania przyrody ludzkiej, odzianej w zwykłą siermięgę, oraz oddawania jej podmuchów. Wędrówka jego zresztą posiada wartość nietylko publicystyczną: utrwala ona w naszem piśmiennictwie nowe nazwisko, które zajmie w niem, tuszymy, miejsce niepoślednie.

Reymont, językiem bez efektów i dla tego silnym, oddaje swoje wrażenia: z dnia na dzień kreśli nam powstawanie jaźni zbiorowej, objętej ekstazą religijną, maluje swój stosunek do tłumów, w którym był pierwotnie jako kropla tłuszczu na powierzchni wody, odsłania duszę swoich towarzyszy. Może nie zamierzając, dał on nam powyższy przyczynek do psychologii gromadnej.

I.

Tak, cała wędrówka p. Reymonta to opis rodowodów jaźni zbiorowej i to nie zwykłej, ale organizującej się na podstawie tradycyi, przekazanej ustnie. Bo zaiste, czem jest kompania pętników? Z początku przedstawia ona zbiór osób sobie obcych, z których każda skądinąd przyszła. Gromadki swojaków giną w tem olbrzymiem, rozproszonem cielsku, które niekiedy ciągnie się luźno na przestrzeni wiorst wielu. Ludziska rzucili dom i gospodarstwo, łóżko i pierzynę i puszczają się w podróż uciążliwą. Każdy może idzie z innem pragnieniem w duszy. Ale istnieje coś, co łączy wszystkich, z początku luźno, potem coraz silniej, wreszcie religijnie. Te drobne, szare sylwetki ludu, te profile ostre, twarze szorstkie i grube, postacie kwadratowe, pozginane pod tobołami już przy wyjściu z Pragi, czynią na swoim towarzyszu, zamierzającym ją opisać, silne wrażenie: miały one w sobie jakąś moc i namaszczenie ogromne. Był to materyał przyszłej jaźni duchowej. Zresztą namaszczenie zjawia się w pierwszych dniach tylko podczas chwil uroczystych, w zwykłej zaś powszedniości przeważa jeszcze rozproszenie. „Kto śpiewa to śpiewa, reszta pielgrzymów gawędzi z cicha. Słyszę najrozmaitsze szczegóły o gospodarstwie, wsiach, ceny zbożą zdają się ich najwięcej interesować. Na wszystkie strony krzyżują się zapytania: skąd brat? skąd siostra?“

Ale istnieją tam w gromadzie czynniki, zwolna dokonywujące jej przeobrażenia: usuwają one niejednolitość, podniecają ducha zbiorowości i harmonii. Jako zasada ogólna, pątników obowiązuje równość ewangeliczna, przekazana przez tradycyę. Znikają godności i odróżnienia, zwyczaj bowiem nie pozwala do nikogo mówić inaczej, jeno: „święty bracie“, „święta siostro“. Rzecz to z pozoru błaha, ale ważna w swoich skutkach. Osoby, które się dotychczas nie znały, są wzajemnie postawione w pewnym szczególnym stosunku. Powstaje od razu zażyłość, wzrastająca w swojej mocy w miarę wędrówki. Zwolna znika nawet różnica pomiędzy „mojem“ a „twojem“, ten kto ma, karmi łaknącego i obraża się, jeśli za to podają mu kwotę pieniężną: „Zachciałeś, bracie, ukrzywdzić dobre dusze — wyrzucają towarzyszki podróży p. Reymontowi — zapłacić za dobre serce groszakiem! To nie jest poczciwie i nie po szlachecku!“ Człowiek naprzód nagina się do wyrazów i zwrotów, nakazywanych przez tradycyę, czyniąc im zadość machinalnie. Ale dźwięk prosty: „bracie!“ na tle wzrastającej ekstazy, zaczyna zamieniać się na czyn braterski, czcza formuła ożywia i napełnia się duchem. Znaczenie symbolu w życiu społecznem, pozornie jałowego i bezbarwnego, występuje w swojej pełni. Zwłaszcza braterstwo to uwydatnia się w pobliżu Jasnej Góry, w ostatnich dniach pielgrzymki: „Sypiam — opowiada p. Reymont o sobie — pod tem dobrem słońcem, jadam, co jest, jeśli jest, idę, jak wszyscy. Żądają czegoś, daję — jeśli mam. Nie jem i nie piję nic więcej nad chleb i herbatę. A nie mam tego, to nie idę już szukać po chałupach, bo wiem, że ta siostra, co obok, ten brat, co przedemną i ci wszyscy dokoła, których przyjazne spojrzenia często odczuwam, pospieszą mi z kromką w imię braterstwa... Będę chory, to mnie wsadzą na wóz i powiozą. Będę biedny, to bez tańczącej filantropii nakarmią mnie, zbiorą wytartych groszaków i dadzą — i prosto to zrobią i szczerze. Umrę, to mi na jakim przydrożnym cmentarzu usypią mogiłę, pokryją tarnią, wsadzą wierzbę płaczącą i pójdą, a o każdej wiośnie, gdy tędy przechodzić będą, rzucą gałąź tarniny lub pęk sasanek leśnych“.

Istnieje też w kompanii hierarchia organizatorów, których zadaniem jest podniecać ducha, zagrzewać upadających, gromić krnąbrnych, welczyć ze swawolą i rozpustą. Oni to poddają pieśni, które swojem brzmieniem skracają mozoły drogi, oni to na noclegach czytają ustępy święte. „Gdzie wy idzieta, bracia i siostry — woła jeden z takich kierowników do gromady o świcie pod krzyżem, karcąc ją za dostrzeżoną swawolę. — Czy idzieta na jarmark? To czemu krzyż jest z wami? Czy do karczmów na zabawę albo na weselę? To czemu pobożne pieśni śpiewata, imienia boskiego używata? Bo wy nie idzieta na odpust, ludzie, nie! Na rozpustę idzieta ludzie, a nie do Matki Najświętszej!“ Ci bracia starsi są to ludzie prości, ale umiejący przemówić do serca prowadzonej rzeszy i brać tony na tym instrumencie tworzącej się zbiorowości, dzielni w radzie, stanowczy w potrzebie.

Istnieją po drogach przybytki, równie przeznaczone do oddziaływania w tym samym duchu. Są to kościoły, nieraz zwykłe, przydrożne krzyże. Tam kompania staje na czas jakiś, orzeźwi się w kąpieli podnieconego zachwytu, wzmocni swoje siły duchowe na dalszą drogę.

Tradycya, zorganizowana i zaklęta w zwrotach symbolicznych, upostaciowana w dziełach z kamienia lub z drzewa i nie posiadająca ciała materyalnego, czycha po drodze na pątników, luźne gromadki zbliża, wyklina rozdźwięk duchowy i stwarza jaźń zbiorową. Ale najwytrwalej i najsilniej oddziaływa sama Częstochowa. Im bliżej ona, tem większy rozmach siły wewnętrznej, tem większe zaparcie. Słońce paliło, kurz zapierał piersi, zmęczenie obciążało wszystkie członki, ale myśl o tem, że Jasna Góra coraz bliżej i bliżej, pokrzepiała upadających ze znużenia. Aż wreszcie, na pewnej odległości, zapanowała jedynie w umysłach: „Myśmy mijali lasy, przechodzili wsie, łany zbóż, strumienie, i parliśmy się, jak jaka rozpętana, żywiołowa siła, do tego punktu przyciągania, co tkwił w każdym mózgu i w każdem sercu rozrastał się coraz potężniej i oddziaływał coraz silniej. Już nie słychać było ani gawęd ani żartów, pieśni śpiewano żarliwiej i liczniej. Pod każdym krzyżem czołgano się w prochu, całowano nietylko krzyż, ale i sztachetki, kamienie, które pod nim leżały. Ciała znikały, pozostawały tylko twarze w rysach i wyrazie i oczy coraz więcej płonące gorączką. Indywidualności milkły i zlewały się z sobą. Nie było już znać szlachty, chłopów, mieszczan, kobiet ani mężczyzn, wszystko spływało się w tej jednej, rozpalonej do białości fali uniesienia religijnego. Na odpoczynkach walili się na ziemię, jak kloce drzewa i za pierwszym odgłosem dzwonka już stali gotowi, już szli i zaczynali śpiewać. Większość żyje suchym chlebem, który dźwiga na plecach, a nikt nie dba, czy jadł, czy spał, czy jest chory, czy upał lub zimno — tylko pada, podnosi się i idzie z coraz większem natężeniem.“ Tak dzieje się już na parę dni przed dojściem do Jasnej Góry. Wreszcie kompania dostaje się do okolicy górzystej, leżącej bezpośrednio przed miejscem świętem. Ostatni to dzień pielgrzymki! Idą tak prędko, że wszystkie piersi rzężą. Na każdym szczycie wszystkie oczy zanurzają się w mgle i niespokojne, gorące spojrzenia szukają konturów wieży klasztornej. „Naraz jakiś dreszcz dziwny przeleciał po tłumie. Słońce podniosło się ponad mgły i w dali, wprost nas, zarysował się cień, niby majak wyniosły, i zapadł się, bo mgły zakłębiły się. Niby jęk zawodu zaszemrał... Ten dreszcz, przenikający co chwila, tak oślepiał i ubezprzytomniał, że darli się wprost naprzód. Krwawych piętn na ziemi i kamieniach było coraz więcej, ale szli bez uwagi na ból, na krew płynącą z nóg...“ Słońce podniosło się i odsłoniło wieżycę. „Wszystkie oczy uderzyły o tę górę z wieżycą na szczycie. Maryo! buchnęło jak płomień z tysięcy piersi i tysiące ciał runęło na ziemię z krzykiem radości. Widok ten, niby orkan, rzucił te wszystkie głowy w proch. Zaczęły płynąć łzy rozradowania, a oczy promienieć radością, wszyscy się trzęśli w łkaniu, co serca rozsadzało, i nie było ani jednej duszy, ani jednej woli, coby nie leżała w zachwycie łzawym. I ten płacz tak się podnosił, że przechodził

*) Z powodu Władysława Reymonta: „Pielgrzymka do Jasnej Góry“.

w jęk, w ryk prawie, zalewał mózgi i serca i stapiał wszystkich w jednę bryłę drgającą w łkaniu, w jedno uczucie, wyrywał z wszystkich serc smutki, bóle, całą gorycz istnienia. I ta głęboka, boska poprostu przez moc swoję rytmika płaczów, próśb i entuzyazmów długo dźwięczała w powietrzu, okręcała wszystkie ciała, przepalała je niby wicher ognisty i przekuwała dusze na inną miarę. Popowstawali i wszystkie twarze rozsłoneczniły się nagle, spotężniały w wyrazie. Zaśpiewali pieśń do Matki Boskiej i szli z siłą światłości dziwnej w oczach, z uśmiechem na chudych twarzach, pełnych śladów utrudzenia, a akcenty tego hymnu tryumfalne biły nad ziemię."

Do tego opisu można dodać coś, nawet bardzo wiele, ale przenigdy odjąć. Sądzę jednak, że dodać mógłby nie pisarz, posługujący się piórem i utrwalający jedynie obrazy. To tylko muzyk zdobyłby się na ujęcie w potężnej melodyi tego wybuchu namiętności, tej rytmiki ekstazy, połączonej pospołu z płaczem i z dreszczem nerwowym.

Nazwałem pracę W. Reymonta przyczynkiem do psychologii zbiorowej. Czytając jego pielgrzymkę, mimowoli wciąż zabiegałem wyobraźnią w przeszłość dziejową. Jego prosta opowieść odsłoniła mi więcej psychologię krzyżówców, ciągnących na oswobodzenie z rąk pogańskich grobu Chrystusa, aniżeli sążniste monografie, tak obfitujące w szczegóły, ale w których nieobecny jest właśnie duch rycerzy-pątników. Po krzyżowcach przesunęły się tłumy biczowników, później inne obrazy, i jeszcze inne. Tam, na stronnicach „Pielgrzymki", w miarę jak je przerzucamy, tworzy się jaźń zbiorowa, nie chwilowa, lecz tygodniowego życia, nie zwykła, ale rodząca się na podstawie tradycyi. Istnieje tam staroczesny obyczaj, wypracowany w ciągu pokoleń, a oddziaływający od pierwszej chwili. Pobożni, którzy pozostawili go w spadku po sobie, oddawna spoczywają w grobie, lecz dzieło ich ducha zbiorowego żyje, przyspiesza powstawanie każdego nowego organizmu gromadnego, według wskazówek przeszłej empiryi i przeciwdziała swawoli indywidualnej i rozpasaniu, stworzyło cement pożycia społecznego i normy wzajemnego stosunku. Zmarły panuje nad żywym i kieruje jego czynami, przyspiesza uderzenie jego serca, ekstazę jego nerwów. Nowy pątnik faktycznie. od chwili, kiedy stanął w szeregu, stąpa w ordynku — z nieżyjącymi.

L. K.

NA WYŁOMIE.

(Tout Posen. — Przed jutrem. — Gasnąca kultura. — Wycieczka Górnoszlązaków. — Jeszcze o Galicyi.)

Tęsknota za morzem i górami coraz silniej wpija się w duszę na rozpalonym bruku poznańkim. Coś rwie nas w świat daleki, coś męczy w tej atmosferze ciężkiej, w miliony pyłków duszących rozdętej, coś szarpie za pióro, wysusza myśli, płącze wiązania stylowe. Bezwładność natury ubezwładnia ludzi. Więc kto może, sznuruje sakwy, chwyta za kij podróżny i, jak głosił jeden z ś. p. profesorów moich na lekcyi stylu polskiego, „z świstem parowozu śle pożegnanie ojczyźnie".

Jeżeli jednak mówimy, że w pustkę zmienia się Poznań, to naśladujemy tylko kłamstwo Francuzów, dla których „tout Paris" znaczy tyle, co pianka społeczeństwa — kilkadziesiąt tysięcy tych, którym życie kamieni zamiast chleba nie daje, a w najszerszem znaczeniu ludzi, którym za mękę życia czerpać wolno chwilami z rozkoszy wytchnienia i róże zbierać po drodze. Tak! pustka na szczytach, lecz olbrzymie niziny nie zmieniają oblicza. One zawsze na miejscu, zawsze znojne, czarne i coraz głośniejszą skargą urągające niebu i prawidłom świata. Jakże to mówi Sienkiewicz: „Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne mozołów, pełne mrówczej pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów, namiętności, codziennych wysileń, — życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy i przewala się jak morze, a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich... I gdyby tylko chodziło o tak zwaną arystokracyę rodu i pieniędzy, zjawisko nie byłoby zbyt ważnem. Ale do tego oderwanego świata należą mniej lub więcej wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka... Nie mówię o tem jako reformator, bo na to nie mam dość siły. Wreszcie co mnie to może obchodzić! Będzie, jak być musi! Chwilami jednak miewam półjasne poczucie jakiegoś ogromnego niebezpieczeństwa, które grozi całej kulturze. Fala, która nas spłucze z powierzchni ziemi zabierze więcej, niż ta, która spłukała świat pudrowanych peruk i żabotów."

Tak! my do wschodów słonecznych wyciągamy ręce, słuchamy szumu bałwanów morskich i przeklinając prozę szarego bytu, uciekamy na górskie szczyty, gdzie piękno ma tron granitowy, — my losów pieszczochy, my nie robotnicy, lecz artyści życia, — a tam zczerniałe od pracy miliony zostały na glebie przy taczkach. Tam nie ma pustki sezonowej, tam ludzie nie łamią sobie głowy nad słodkiem pytaniem: w góry, czy nad morze? tam chorobliwych dreszczów i bezwładnych istot sierpniowe słońce nie rodzi — tam każdy zawsze na miejscu, zawsze tłum równy i równe szemranie. Nie wiem, czy głuche przeczucia Płoszowskich zwiastują nam orkan wstający z pomruków motłochu i druzgocący filgrany kultury, — nie wiem, czy ta nowa epoka ukaże się kiedyś w błyskawic ogniach i piorunów graniu, — ale wiem, że fala, co szumi tam w dole, już rozpoczęła niwelacyjną robotę.

Cichy, jak przypływ morza, idzie ku nam duch przeobrażeń: chwilami tylko silniejszym pluskiem znać daje o sobie i niewstrzymany w swym biegu, rośnie i rośnie bez końca. W społeczeństwie naszem coś się przewraca, — ta idąca fala podmywa „tarasy" i arystokratyczne piętno narodu ginie w powodzi ludowych żywiołów.

Dziwić się nie można, że przerafinowanym dzieciom kultury strach tej olbrzymiej masy, która się toczy powoli i dzwoni śmierci wyrokiem. One tak ukochały wyżyny swoje, taki świat piękna wypieściły sobie, nad rzeźbionemi tronami rozpięły gazy błękitne zasiane gwiazd mirjadami, i wysoko nad czarnym tłumem żyją oderwane w jakimś raju sztucznym, lecz dziwnie uroczym i pełnym zachwytów durzących.... A nagle głos idzie z nizin potężny, że koniec temu królowaniu starej kultury, że surowy podmuch nowego poranka zmiecie te pajęcze siatki wyniańczonych nerwów, i jeżeli z tronów swych między lud nie zstąpią, tłum po ich wątłych ciałach przejdzie stopą brutalną. Wczoraj jeszcze oni tworzyli kulturę i cała społeczność według ich muzyki dusze swoje stroiła, dziś jakaś cudza zalewa ich fala, silna jak morze i jak ono surowa, gorzka i okrutna. Zwołują się ptaki strwożone lecz coraz rzadsze ich hufce i pustka wieje w około. Straszny los orłów zgrzybiałych, lecz ty, ojczyzno, błogosław epoce nowej.

Garść tych luźnych refleksyi nasunęła mi zapowiedź górnoszląskiej wizyty w murach Poznania. Szląsk odrodzony śle pokłon starej ojczyźnie a przybywa z obliczem przyszłości, z zdrowem obliczem ludu, — demokratyczny syn kraju naszego. Oto pierwszą, najczystszą cząstkę Polski ludowej powitamy w górnoszląskich przybyszach. Przedstawicieli starej kultury pochłonęła tam zaborczość niemiecka — polskim pozostał tylko lud ze swoją duszą odrębną, samoistnie przechowaną, świeżą i nieugiętą. To co u nas w Poznańskiem jest w pierwszym okresie rozwoju, co u nas wzbiera dopiero i w zatarasowane bramy uderza, tam na szląskiej ziemi jest czynem spełnionym, rozwojem dokonanym. Demokratyzacya społeczeństwa odbyła się na odrodzonej ziemi w innych jak u nas warunkach, bo lud jeden czucia polskiego nie stracił i jeden tworzy tam Polskę. ale w jakichkolwiek okolicznościach powstała na Szląsku Polska demokratyczna, stanie się ona rozsadnikiem nowej kultury po całych obszarach ojczyzny. Jej samo istnienie, jej zdrowie i hart niespożyty, jej polskość oparta na szerokich masach, zaświadczyły nagle przed całym światem, że na takim fundamencie budować można gmach nowy, — wielki i niewzruszony. I zaświadczyły dalej, że gaszenie ruchu ludowego w innych dzielnicach ojczyzny jest nietylko płonną lecz zgubną robotą, bo gdy staremu organizmowi brak soków żywotnich, nie wolno kłaść tamy nowym przypływom, choćby przypływy te zmienić miały całą fizyonomią społeczeństwa. I cóż? Niechaj się zmieni, byleby w nowych formach żyła ojczyzna. Być może, że nam dzieciom starej kultury oblicze Szląska cudzem się wydaje, ale gdy serce szląskie jest polskiem, my nie wołajmy, że drogoskazy jego wiodą na manowce.

I dziwne zaiste zrządzenie! Przed kilku dniami żegnaliśmy gości galicyjskich o wybitnych znamionach tych wielkich przeobrażeń, którym społeczeństwo ulegać zaczyna. Było to grono ludzi o zdrowych instynktach demokratycznych, żywioły czysto mieszczańskie i ludowe, część nowej Polski, o nowych pojęciach, uczuciach i dążeniach.

Jednym z najwybitniejszych akcentów całej wycieczki były występy galicyjskiego włościanina a w okół grupowały się natury czerstwe, gorące, w pracy o chleb powszedni stwardniałe, nieco surowe lecz silne, niewystudzone i odporne. Powiedział ktoś z przekąsem i z źle utajoną pogardą, że to „demokratyczny najazd" na wielkopolską stolicę, a ktoś inny dodał, że „dla naprawy opinii" Galicya arystokratyczną wycieczkę przyśle nam w gościnę, — dziwna ślepota! Galicyi hołd, nie urąganie się należy, że nam część nowej pokazała Polski.

A za dni kilka już może Szląsk pokrewną nutą do nas się odezwie. Przemówi dźwiękiem przyszłości i nadzieją jutra, — błogosławmy więc zwiastunom nowego życia, bo na niem stoi ojczyzna.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Fontane o Sienkiewiczu. Czytelnicy przypomną sobie z przed kilku miesięcy zbiór sądów najgłośniejszych literatów o Bismarcku, ogłoszony w berlińskim tygodniku „Die Gegenwart". Podaliśmy wówczas w tłómaczeniu najważniejsze głosy i zdania. Najświeższy numer „Gegenwart" przynosi nam dodatkowo, po wydrukowaniu owego zbioru, zebrane jeszcze odpowiedzi na rozesłane zapytanie: „Co pan sądzisz o Bismarcku?" Są one stosunkowo mniej zajmujące, ale ciekawym jest dodany na końcu sąd niemieckiego powieściopisarza i publicysty, Teodora Fontane, o wyniku tej jedynej w swoim rodzaju ankiety. Najniespodziewaniej bowiem dowiadujemy się zeń, co jeden z najpoważniejszych przedstawicieli literackiego świata niemieckiego sądzi o Sienkiewiczu. Fontane pisze: „Wiadomym numerem waszego czasopisma sprawiliście mi wielką przyjemność. My, Niemcy, w naszej mądrości politycznej tak w pochwałach, jak w naganach, wystąpiliśmy równie słabo. Dosyć zadowolnili mnie tylko v. Egidy i Max Nordau. Stanley jest zajmujący, Spencera głos ważny, ale bezwstydny. Sienkiewicz wspaniały. Pobił on wszystkich innych o siedm długości konia. Wogóle nigdy nic podobnego nie zdarzyło mi się spotkać pod względem pochwycenia rzeczy i trafienia w same sedno. Sąd jego stawiam po nad wszystko, co w rodzaju szkiców i charakterystyk z pióra naszych angielskich, francuzkich i niemieckich historyków czytałem. Blednie przytem ulubieniec mój Macaulay. Obawiałem się, że przy końcu wyjdzie Polak i to popsuje przepyszne wrażenie, ale oszczędził mi tej przykrości. To, co napisał, całkiem mnie upoiło; bo i prawda, bodaj dla tego, że jest tak rzadką, może człowieka upoić, jak tlen".

* * *

Lavisse do Wilhelma II. Wielkie wrażenie sprawił wydrukowany w „Revue de Paris“ list otwarty historyka Lavisse'a do cesarza Wilhelma. Wrażenie listu potęguje ta okoliczność, że Francuz ów, historyk Niemiec i Prus, znany jest z bezstronności, z braku szowinizmu i ze szczerej sympatyi i szacunku dla cesarza Wilhelma. Podnosząc sprzeczność pomiędzy pokojowym tonem mów, wygłoszonych przez cesarza w Hamburgu i w Kiel, a przygotowaniami do święcenia pamiątki zwycięztw niemieckiej armii w 1870 i 1871 r., Lavisse zwraca się do wspaniałomyślności Wilhelma, doradza mu zapomnieć przeszłość a zwrócić się do przyszłości, przed wielkiemi zadaniami której bledną bohaterstwa przeszłości. Pięknemi, proroczo brzmiącemi słowami maluje historyk przed oczyma Wilhelma obraz potomności, badającej upadek Europy w przeżywanej przez nas epoce; szukając przyczyn tego upadku, potomność obwini przedewszystkiem tych, którzy mieli władzę podźwignąć z niego Europę, a nie zechcieli. Analizując charakter cesarza Wilhelma, potępi ona jego chwiejność, jego zdolność wyśpiewywania dzisiaj — hymnów na cześć groźnego boga wojny, Aegira, a jutro — dytyrambów na cześć pokoju. Powie ona, że ten, co tak dobrze znał przeszłość i tak doskonale widział przyszłość — pisze Lavisse — miał moc zyskania bezprzykładnej sławy, ale nie umiał on pójść ku przyszłości i po kilku wahaniach pomiędzy przeszłością i przyszłością, zezwolił, że olśniła go właśnie przeszłość, pochwyciła w swoje objęcia i więcej z nich nie wypuściła. Lavisse ubolewa nad tem, ponieważ, jego zdaniem, „cesarz Wilhelm mógłby zgotować sobie wyższy i lepszy los“. — Doniesienia gazet o zamiarze cesarza Wilhelma udania się do Alzacyi i Lotaryngii dla wzięcia udziału w uroczystym obchodzie 25-letniej rocznicy wojny 1870—1871 r., okazują się bezpodstawnemi. Cesarz wróci około 17 sierpnia z Anglii do Berlina i nazajutrz ma być obecnym tamże przy założeniu fundamentu pomnika cesarza Wilhelma I.

* * *

Zasób umysłowy dziecka p. J. Wł. Dawida. Podstawą pedagogii, i to zarówno teoryi jak praktyki pedagogicznej, jest psychologia wychowawcza. Tylko dokładne poznanie dziecka może prowadzić do umiejętnego z niem postępowania. To też większość obecnych wydawnictw pedagogicznych poświęcona jest przeważnie badaniu dziecięcej natury. We wszystkich krajach, w których wychowanie traktuje się poważnie, istnieją gorliwi pracownicy, którzy zajmują się zbieraniem spostrzeżeń nad dziećmi, zestawianiem ich, porównywaniem i wysnuwaniem wniosków, stanowiących cenne dla pedagogów wskazówki. Ponieważ jednak tę metodę postępowania niezbyt dawno zastosowano, ilość materyału jest jeszcze zbyt szczupłą, aby wnioski owe charakteru pewników naukowych nabrać mogły. To też publikując je obecnie, autorowie dążą przedewszystkiem do tego, by badaniami swemi szerszy ogół zainteresować i zachęcić jak największą ilość pedagogów do spostrzeżeń podobnych celem zebrania jak najobfitszego materyału dla doświadczonej pedagogii.

Miło mi zaznaczyć, że w pracy nad badaniem dziecka nie pozostaliśmy bardzo daleko poza innemi narodami. Znany pedagog warszawski, redaktor „Przeglądu pedagogicznego“, p. Dawid, ogłosił w tym czasie drukiem pracę swą p. t „Zasób umysłowy dziecka“, w której zestawia spostrzeżenia swe, czynione nad ilością pojęć i wyobrażeń u dzieci warszawskich, z podobnemi spostrzeżeniami, spisywanemi w kilku miejscowościach Niemiec i Stanów Zjednoczonych.

Ilość posiadanych przez dziecko wyobrażeń stanowić może do pewnego stopnia miarę jego umysłowego rozwoju. W zestawieniu z wiekiem dziecka i warunkami jego życia staje się poniekąd miarą wrodzonych zdolności, a porównanie spostrzeżeń, czynionych nad wielką ilością dzieci, zwłaszcza w różnych warunkach i w różnych miejscowościach żyjących, rzuca poniekąd światło na wpływ otoczenia, rasy, metod wychowawczych i t. d.

W dawniejszej pracy swej „Program spostrzeżeń psychologiczno - wychowawczych nad dzieckiem“, udzielił p. Dawid wskazówek, jak się badania takie odbywać mają. Ułożył on ogólny kwestyonaryusz dla wychowawców, a w nim zamieścił kwestyonaryusz krótszy, odnoszący się wyłącznie do ilości pojęć i wyobrażeń dziecka. Kwestyonaryusz ten, który niezawodnie pracę ułatwia i upraszcza — powtórzył on w swej obecnej książeczce, — dla użytku czytelników, którzy zachęcani bardzo zajmującym rezultatem tej pracy, zechcieliby na swoją rękę badania prowadzić.

Rezultat zaś jest istotnie bardzo zajmujący. Do najciekawszwch i najbardziej pouczających wniosków, wysnutych z zebranych spostrzeżeń, zaliczamy uwagę, iż rozwój umysłowy dziecka odbywa się rytmicznie, w pewnych okresach życia przyspiesza się, w innych słabnie, a zjawisko to spostrzegać się daje zarówno u niemieckich, warszawskich i amerykańskich dzieci. Okresy wzmożonej zdolności przyswajania wyobrażeń wypadają też dla wszystkich mniej więcej dzieci w tym samym wieku. Zdolność ta, spotęgowana między 6-tym i 7-mym rokiem życia, następnie słabnie, — między 8-mym do 10-tym znów się wzmaga — a w okresie między 11-tym a 12-tym doznaje wyraźnego zastoju. Takim samym wahaniom ulegają prawdopodobnie zdolności umysłowe wogóle, a z zestawienia z okresami fizycznego rozwoju wynika, iż o ile pora najszybszego wzrostu nie wywiera wpływu na czynności umysłowe, o tyle znów epoki większego przybierania na wadze stoją do nich w stosunku odwrotnym, czyli, że zdolności dziecka słabną wtedy, gdy masa ciała szybko się zwiększa. Wiadomość ta zawierać może ciekawe i pocieszające objaśnienie dla rodziców, którzy nieraz ze strachem i smutkiem spostrzegają, iż dziecko bystre i rozwinięte naraz staje się stosunkowo tępem i nieudolnem. Fazy takie przechodzą widocznie wszystkie dzieci, są one zatem zupełnie normalnem zjawiskiem. Również zajmujące są porównania, czynione między dziewczętami i chłopcami, dziećmi z miasta i ze wsi, i dziećmi różnych narodowości i różnych sfer społecznych. Ciekawych odsyłamy do książeczki p. Dawida, której przeczytanie niezmiernie korzystnem jest dla wychowawców i powinno ich zachęcić do wzbogacenia materyału statystycznego własnemi spostrzeżeniami. Redakcya „Przeglądu pedagogicznego“ (Warszawa, ulica Złota nr. 26) wdzięczną będzie każdemu, kto jej takiego materyału dostarczy. Na rozszerzeniu pola badań sprawa wychowania wiele zyskać może.

I. M.

* * *

Bismarck w nowej edycyi. Pod tyt. „Zniemczenie wschodu“ podaje pewien R. Richardi w „Gegenwart“ krytykę dotychczasowej polityki antipolskiej rządu pruskiego i nowe własne projekty. Artykuł ten warto poznać bliżej; zawiera on ciekawą mięszaninę myśli uczciwych i krytycznych, obok wybryków szalonej ku nam nienawiści i najpotworniejszych planów prześladowczych. W dotychczasowych ustawach i krokach antipolskich widzi autor walkę: 1) przeciw kościołowi katolickiemu, (która w rezultacie zamiaru nie osiągnęła); 2) przeciw robotnikom i chłopom, przez wydalenie obcopoddanych (która w rezultacie wyszła na szkodę produkcyi rolniczej); 3) przeciw szlachcie, przez działalność komisyi kolonizacyjnej (co chybiło celu), i 4) przeciw mieszczaństwu polskiemu, przeciw kupcom i rzemieślnikom, przez agitacyę spółki H. K. T., która ma bojkotować i zniszczyć średnie warstwy polskie, zastępując je niemieckiemi. Wszystkie powyższe środki są zdaniem autora nietylko chybione, ale w najwyższym stopniu barbarzyńskie, niechrześcijańskie, pod względem moralnym podłe i brudno-geszefciarskie. Na tym punkcie trzymamy „Gegenwart“ za słowo. Cóż więc radzi nowy apostoł? Oto wychodzi z założenia, że państwo niemieckie ma prawo żądać, aby jego poddani umieli dobrze po niemiecku, a skoro będą znali ten język, stanie się mowa polska, a wraz z nią kultura polska, zupełnie zbyteczną. Proponuje więc ustawę, podług której każdy Polak, który po 25 latach nie będzie umiał po niemiecku, ma być politycznie pozbawionym praw obywatelskich, a ekonomicznie — oddanym pod kuratelę i t. d.... Coraz lepiej! Ani słowa!

* * *

„Monitor“ nr. 18. (tygodnik polityczno-literacki) wyszedł i zawiera: W gnieździe ós i szerszeni. — Mamy broń! — Rządy wójtów w Sniatyńskiem. — Listy z kraju. — Bankructwo egoizmu. — Bourget o Maksymilianie Ducampie. — Nauka a mity o człowieku. — Fejleton: — Podpalacz (wiersz) przez Probierczyka. — Sztuczka cudotwórcy przez L. Fausta.

KRONIKA POWSZECHNA.

Redaktor pisma naszego p. dr. Władysław Rabski wyjechał na trzy tygodnie.

* * *

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Półurzędowa „Allg. Ztg.“, wychodząca w Monachium, zaczęła znów agitować za powiększeniem floty niemieckiej. — Do kasy rzeszy wpłynęło na czysto (po odciągnięciu kosztów administracyjnych i premii wywozowych) od 1 kwietnia do 1 lipca roku bieżącego z ceł 82,320,793 marek (9,492,068 marek więcej niż w tym samym czasie roku zeszłego), z podatku tytoniowego 1,978,682 marek, z podatku od cukru 20,551,166 (— 1,573,171) marek, od soli 10,525,012 (+ 395,820) marek, od zacieru i materyałów gorzelniczych 4,848,955 (— 825,114) marek, z podatku konsumcyjnego od okowity i dodatku 25,250,626 (+ 786,375) marek, z podatku od piwa 6,778,551 (+ 170,861) marek. Razem 152,253,785 (+ 8,151,211) marek. — Program agrarny, wypracowany z polecenia przeszłorocznego zjazdu socyalistów niemieckich w Frankfurcie przez osobną komisyę, nie zupełnie podoba się stronnictwu. W obronie jego staje niejako z urzędu Bebel, poszczególne pisma wiele mają mu do zarzucenia. Hamburskie „Echo“ pochwala go w ogólności, ale twierdzi, że jest niepraktyczny, a prócz tego może wywołać nieporozumienie; „Volksblatt für Harburg“ potępia go o tyle, że prowadzi do socyalizmu państwowego, na który się stronnictwo nie zgadza; „Leipz. Volksblatt“ twierdzi, że zadaniem socyalizmu jest nie polepszenie istniejącego ustroju, do czego dąży program, lecz obalenie go i stworzenie zupełnie nowych stosunków; „Sachs. Arbeiterztg.“ pyta, czy program wogóle jest socyalistycznym? Żądania w nim stawione mogłaby stawić tak samo demokracya chłopska, a o głównem żądaniu stronnictwa, doprowadzeniu do komunizmu, wcale w nim nie ma mowy. Podobnie wyrażają się elberfeldzka „Fr. Presse“ i augsburski socyalista Brader. — Stronnictwo liberalne w Anglii poniosło stanowczą klęskę w ostatnich wyborach. — W Rzeszowie odbył się zjazd delegatów stronnictwa ludowego w Galicyi. Doniosłym rezultatem obrad jest utworzenie centralnego komitetu wyborczego o charakterze demokratycznym.

* **Teatr i muzyka.** Gabryela Zapolska wystąpi gościnnie w teatrze łódzkim. Wyrażamy życzenie, aby i dyrekcya poznańskiego teatru postarała się o występy głośnej powieściopisarki i artystki. — Za dni kilka ukaże się w operze warszawskiej „Sprzedana narzeczona“, która tak bardzo zainteresowała polską publiczność od chwili, gdy ją za arcydzieło okrzyknięto — w Wiedniu. Bawi w Warszawie naczelny baletmistrz praskiego „Narodnego Divadla“, pan Berger, sprowadzony umyślnie w celu ułożenia narodowych tańców czeskich, jakie w operze będą wykonane. A tymczasem pan Edward Jelinek prostemi, ale wzruszającemi słowami kreśli w jednym z dzienników życiorys Bedrzycha Smetany, twórcy „Sprzedanej narzeczonej“, będącego zarazem twórcą i czeskiej muzyki. Smetana, który napisał wiele innych oper oraz symfonii, poczytywał „Naczeczoną“ za igraszkę i zbyt wielkiej wagi do dzieła tego nie przykładał. Co dziwniejsza, i sami Czesi nie stawiali opery tej na wysokości, jakiej jest wartą. Uwagę rodaków na arcydzieło zwrócił dopiero stempel zagranicy. „Alte Geschichte!“... — Występy Mieczysława Frenkla na lwowskiej scenie stały się jednym szeregiem tryumfów. — Kazimierz Zalewski napisał świeżo nowy utwór dla sceny. Nosi on tytuł „Prolog“ i jest poetyckim obrazkiem, przeznaczonym na rozpoczęcie widowiska teatralnego. Osobami działającemi są: poeta, aktor, Apollo i muzy.

Zmarli:

* **Jerzy Patinot,** naczelny redaktor „Journal des Debats“, zm. w Paryżu w połowie lipca.

* **Dr. Władysław Drużyłowski,** tłomacz licznych dzieł naukowych, zm. w Płocku w początkach lipca.

Odpowiedzi Redakcyi.

En. Prosimy zgłosić się w początkach września.

A. B. C. Korzystać nie możemy, bo utwór nosi wyraźną cechę pamfletu. Radzimy udać się do „Kuryera Poznańskiego“.

F. Zamieścimy; prosimy jednakże o cierpliwość.

Sigma. Polecamy francuzko-niemiecki i niemiecko-francuzki słownik Sachsa. Słownik Thibauta dziś już za przestarzały uważać należy.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 32. Poznań, Niedziela 11. sierpnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

KONKURS.

Redakcya „Przeglądu Poznańskiego“ ogłasza niniejszem konkurs na pracę o życiu i dziełach Karola Marcinkowskiego.

Warunki konkursu są następujące:

1) Dzieło uznane za najlepsze otrzyma 1000 marek nagrody. Fundusz ten zebrała w drodze składek redakcya „Przeglądu Poznańskiego“.

2) Dzieło winno obejmować przynajmniej 10 arkuszy druku (8-vo).

3) Dzieło winno zawierać:

a) charakterystykę społeczno-politycznych stosunków W. Ks. Poznańskiego w tej epoce, w której żył i działał Karol Marcinkowski; b) życiorys Karola Marcinkowskiego i dokładną charakterystykę jego społeczno-politycznych i filantropijnych dążeń i działań; c) historyę instytucyi powołanych do życia p. Karola Marcinkowskiego lub z współudziałem jego stworzonych; d) charakterystykę wybitniejszych działaczy politycznych w Księstwie z okresu Karola Marcinkowskiego.

4) Prace nadsyłane pod adresem redakcyi „Przeglądu Poznańskiego“, powinny być bezimienne i zaopatrzone w godło, znajdujące się także na zamkniętej kopercie, zawierającej nazwisko i dokładny adres autora.

5) Ostateczny termin nadsyłania rękopisów upływa z dniem 31 grudnia 1896 r.

6) Premia uzyskana winna być przedewszystkiem użytą na ogłoszenie drukiem nagrodzonego dzieła. Redakcya „Przeglądu Pozn.“ zastrzega sobie jednak prawo publikowania bezpłatnie w łamach pisma swojego niektórych ustępów premiowanej pracy przed ogłoszeniem jej całości.

* * *

O składzie jury konkursowej doniesie redakcya „Przeglądu Poznańskiego“ w najbliższym czasie.

Kwestya rolnicza w środkowej Europie.

II.

Ze wskazaną przez nas w poprzednim numerze niezwykłą inercyą kapitałów rolniczych, łączy się zarazem i mniejsza ich elastyczność. Rolnik nie jest w stanie, tak jak to czyni przemysłowiec, co chwila zmniejszać lub zwiększać dowolnie zakres swej produkcyi, a tem mniej, na czas pewien, całkiem ją zatrzymywać.

Na przeszkodzie temu stoi przedewszystkiem wzmiankowany już stosunek kapitału stałego do obrotowego. Przypuśćmy bowiem, że fabrykant i rolnik posiadają po 100,000 marek kapitału. Kapitał fabrykanta rozkłada się na stały i obiegowy w stosunku 3:2. Kapitał zaś rolnika, jak 4:1. Procent zaś dochodu równa się w obydwu wypadkach 6 proc. Roczny więc dochód fabrykanta i rolnika wynosi 6000 marek. Lecz oto okoliczności zmuszają ich o połowę zmniejszyć swą produkcyą, a tem samem o tyleż zredukować i kapitał obrotowy. Oczywista, że i suma dochodu wyniesie teraz połowę poprzedniej.

W takim wszakżeż razie fabrykant otrzymał 3000 zysku od 60,000 kapitału stałego + 20,000 kapitału obrotowego t. j. 3,7 proc., rolnik zaś też same 3000 mr. z 80,000 mr. kapitału stałego + 10,000 mr. kapitału obrotowego, t. j. 3,(3) proc.

Umyślnie przyjęliśmy w przykładzie naszym minimalną różnicę w rozkładzie kapitału przemysłowego i rolniczego na część stałą i obiegową a przecież otrzymaliśmy, że i wtedy rolnik, zmniejszając swą produkcyę, traci niemal o ½ proc. więcej niż przemysłowiec. W rzeczy zaś samej różnica ta jest o wiele większa.

Prócz tego, wprost już z powodów technicznych, kapitał obiegowy zmniejsza się w rolnictwie w mniejszym stopniu, niż produkcya. W fabryce, gdy wytwórczość zostaje zredukowaną do połowy, wtedy i opału i materyału surowego dwa razy mniej wychodzi i robotnika połowę się tylko najmuje. Kapitalista więc wrzuca w obieg połowę tego, co zwykle, i druga połowa pozostaje u niego w kieszeni. Inaczej rzecz się dzieje w rolnictwie. Ani paszy dla koni i bydła nie można mniej niż zwykle kupić lub zużyć, ani na reparacye mniej nie wyjdzie, boć ilość bydła, sprzężaju, narzędzi rolniczych pozostaje tą samą. Gdyby rolnik chciał nawet część pewną inwentarza swego wyprzedać, to: 1) wycofałby mniej niż połowę zużytego na jego kupno kapitału, 2) możliwem by to było tylko dla pojedyńczych producentów, nigdy zaś dla całego kraju: masowa bowiem podobna wyprzedaż mogłaby jedynie doprowadzić do nadmiernej zniżki cen takich produktów rolniczych jak mięso. Zresztą zbyt wielką nieopatrznością byłaby wyprzedaż inwentarza za bezcen, gdy na rok przyszły należałoby go znowu po wyższych cenach kupić. Również nieroztropnem byłoby zmniejszać w ten sposób ilość nawozu i uniemożliwiać na przyszłość użyźnianie gruntów, co wkrótce znów pod uprawę musiałyby być wzięte.

Co prawda w Ameryce i południowej Rosyi, gdzie w znacznym stopniu prowadzi się rabunkowa wielko-kapitalistyczna gospodarka, raptowne zmniejszenie produkcyi rolniczej możliwem jest i nieraz ma ono tam miejsce. Mała to jednak pociecha dla intenzywnego rolnictwa środkowej Europy.

A u nas, w Polsce, sporadyczne zmniejszanie lub zwiększanie kapitału obiegowego jest już wprost niewykonalnem. W Anglii, w zachodnich prowincyach Niemiec, w fabrycznych okolicach Francyi można chociażby zmieniać z roku na rok ilość zatrudnianego robotnika. U nas, gdzie panuje system komornictwa, niesposób co chwila wydalać dziesiątki rodzin chłopskich, tem bardziej, że kontrakty są roczne.

Wróćmy teraz znów do poprzedniego naszego przykładu. Fabrykant zmniejszywszy produkcyę o połowę otrzymuje 3000 mr. dochodu ze swej fabryki, prócz tego posiada on w swem rozporządzeniu 20,000 kapitału. Może on go umieścić w innej gałęzi przemysłu lub handlu i licząc znów po 6 proc. otrzymuje zeń 1200 marek zysku. Kapitał więc 100,000 mr. dał mu ogółem 4200 mr. dochodu, czyli przyniósł 4,2 proc. Tymczasem rolnik nasz, chcąc zredukować produkcyę swą o połowę, a nie mogąc w równej mierze zmniejszyć kapitału obiegowego, nie byłby w stanie pokryć nawet kosztów wytwarzania. Licząc bowiem poprzedni jego zysk na 6000 mr., a kapitał obiegowy na 20,000 mr., tem samem powiedzieliśmy, iż dochód brutto równał się 26,000 mr. Redukując do połowy produkcyą, otrzymamy 13,000 mr. A odjąwszy od tej sumy koszta najmu, utrzymania inwentarza itd., czyli wielkość kapitału obiegowego, będziem mieli 7000 mr. deficytu.

Lecz nawet i dla owego, w lepszych warunkach znajdującego się rolnika, który jest

w stanie dowolnie zmniejszać ilość robotników, kwestya przedstawia się nie wiele lepiej. Przypuśćmy bowiem możliwie dlań nawet korzystny stosunek kosztów najmu do reszty kapitału obiegowego, tj. 4:1, a otrzymamy, że przy dochodzie brutto 13,000 mr. wydał on $^2/_5$ poprzednich kosztów produkcyi czyli 8000 mr. na najem, $^1/_5$ czyli 4000 mr. na inne wydatki, które pozostały niezmienione, dochód więc jego równa się 1000 mr. (13,000—12,000). Prócz tego pozostało mu się 8000 mr. wolnego kapitału, który może mu, gdzieindziej umieszczony na 6 proc., przynieść 480 mr. Razem więc 100,000 kapitału dało mu 1480 mr. zysku czyli 1,48 proc. Czy jednak tak mały dochód będzie w stanie wyrównać straty, wynikłe z wyprowadzenia gruntów z kultury, nader to wątpliwe.

Z obu tych kardynalnych różnic, zachodzących między rolnictwem a przemysłem, a mianowicie z inercyi i mniejszej elastyczności kapitałów rolniczych, wypływa i odmienne kształtowanie się cen produktów agrarnych.

Niezależnie od tego, co przyznamy za podstawę wartości, czy sumę niezbędnie potrzebnej przeciętnie społecznej pracy, czy stopień użyteczności towarów, czy też rzadkość ich, czy wreszcie użyteczność wraz z rzadkością, zawsze zgadzamy się na jedno, że ceny wytworów przemysłowych nigdy poniżej kosztów produkcyi na stałe spadać nie mogą. Gdy bowiem zbyt wielka podaż do tak nadmiernej zniżki je doprowadzi, wtedy kapitały poczynają wycofywać się z zagrożonych pozycyi, podaż się zmniejsza i ceny idą w górę. Klapą bezpieczeństwa, chroniącą przemysł od stałej stagnacyi i ruiny jest ruchomość jego kapitałów. Lecz rolnictwo jej nie posiada.

Wobec tego możliwą też jest w rolnictwie stała zniżka cen poniżej kosztów wytwarzania.

W podobnem położeniu znajduje się dziś rolnictwo środkowo-europejskie. Wszechświatowy rynek zbożowy jest przepełniony. Nie znaczy to bynajmniej, by zboża wyprodukowano więcej nad ilość, mogącą być skonsumowaną. Bynajmniej. Masy ludności mrą z głodu. Lecz produkcya przewyższyła już siłę pokupną narodów. W dzisiejszem zaś społeczeństwie zwie się to nadprodukcyą. Zboże nie leży coprawda zaspami w śpichlerzach. Ostatecznie zostaje ono sprzedanem. Lecz cena, zań otrzymana, pokrywa koszta produkcyi tylko na najlepszych gruntach tj. mówiąc konkretnie, w Ameryce, w Indyach i południowej Rosyi. Kraje te, o ekstenzywnej produkcyi i wielko-kapitalistycznej gospodarce, posiadają i tę jeszcze nad nami przewagę, że łatwiej mogą zwiększać lub zmniejszać swą wytwórczość. W ten sposób są one w stanie przez dłuższy jeszcze przeciąg czasu utrzymać ceny produktów rolniczych na wszechświatowem rynku, powyżej ponoszonych przez nie kosztów wytwarzania. Obojętnem im jest wszakże, czy ceny te wystarczające są i dla naszego rolnictwa.

Bimetaliści widzą główną przewagę amerykańskiego rolnictwa nad środkowo-europejskiem w konjunkturach monetarnego rynku. Mają oni potrochę słuszności. Rdzeń kwestyi nie leży wszakże w stosunkach pieniężnych, lecz

1) w braku elastyczności kapitałów rolniczych i cechującej je inercyi;

2) w specyficznym dla rolnictwa stosunku nakładu pracy i kapitału do wytwórczości.

Gdy bowiem w większości przedsiębiorstw przemysłowych intenzywniejsze metody produkcyi są zarazem stosunkowo produktywniejsze, w rolnictwie, jak to dostatecznie wykazał nasamprzód Rodbertus, a następnie ujął w matematyczną formułę niedawno zmarły prof. Leer, wzrost wydajności do pewnego tylko czasu wyprzedza wzrost nakładu, następnie posuwa się z nim równym krokiem, wreszcie staje się odeń coraz powolniejszym. Jest to zresztą prosta konsekwencya tej ogólnie znanej prawdy, że wydajność ziemi jest ograniczoną. To też różnica w kosztach intenzywnej środkowo-europejskiej gospodarki i konkurującego z nią ekstenzywnego rolnictwa młodszych kulturą krajów, będzie się coraz więcej wzmagać na niekorzyść tej pierwszej. Równocześnie zaś rość musi i ruina całego naszego rolnictwa, zarówno wielkiego, jak i drobnego.

Możliwe są coprawda pewne środki zaradcze, co na czas jakiś mogłyby nas ochronić od grożącej naszemu rolnictwu klęski. Muszą one wszakże polegać wyłącznie na zamianie intenzywnych na więcej ekstenzywne metody wytwórczości, a więc n. p. na zamianie gospodarki zbożowej, na hodowlaną i wypasową.

Na nieszczęście rada to nie zawsze wykonalna. Gdzie nie ma dostatecznych środków komunikacyi lub odpowiednich warunków naturalnych, albo wreszcie niezbędnych dla przeprowadzenia reformy kapitałów, tam może ona jedynie przyśpieszyć ostateczną ruinę.

Zresztą jest to zbawienna do czasu tylko rada. Anglia osiągnęła z niej bezwarunkowo znaczne korzyści. Niechby wszakże cała Europa chciała pójść jej śladami, to jedynym tego niemal skutkiem byłoby pozbawienie całych mas ludności zajęcia i zmniejszenie pokupnej siły rynku. *Str.*



POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

Wychodzący w Bochum „Wiarus polski“ donosi:

„Baczne oko zwracać zaczynają westfalskie władze policyjne na polskie towarzystwa. W przeszłą sobotę zawezwano znów prezesa Tow. św. Franciszka z Riemke na policyę, gdzie go badano, podobno jak innych o różne drobnostki. Te wzywania na policyę bywają nieraz dosyć przykre, gdyż prezesi muszą często mudzić pół dnia, a zmudy tej nikt im nie wynagradza. W ostatnim czasie miały nasze towarzystwa dosyć spokoju, ale widać, że teraz coś przeciw nim knują, bo dawniej nie żądano przedkładania sztuczek teatralnych, co się teraz częściej dzieje. Towarzystwo św. Andrzeja w Bochum zamierzało urządzić przedstawienie amatorskie, a komisarz zażądał poraz pierwszy, by mu wręczono tekst teatru i pieśni, które śpiewać miano. Uczyniono naturalnie temu żądaniu zadość. Na pochwałę komisarza musimy jednak podnieść, że nie stawiał bezprawnego żądania, by mu wręczono niemieckie tłomaczenie, uwierzytelnione przez przysięgłego tłomacza. Zabawa Towarzystwa św. Andrzeja odbyła się w przeszłą niedzielę, a policya przysłała na nią — co dawniej nigdy nigdy nie bywało — stróża bezpieczeństwa, by zdał sprawozdanie z przebiegu zabawy.“

—

„Dziennik Kujawski“ zwraca w numerze 174 uwagę na pojawianie się antypolskich dążności w poznańskich i zachodnio-pruskich bractwach kurkowych. Z artykułu poświęconego temu przedmiotowi cytujemy ustęp następujący:

„Najwyraźniej objawiła się dążność strzelców kurkowych w tem, że na przeszłym zjeździe zachodnio-pruskim, który się odbędzie w dawnej stolicy Krzyżaków, w Malborgu, ma być postawiony następujący wniosek:

„Związek strzelecki zachodnio-pruski przystępuje jako członek do Towarzystwa szerzenia niemczyzny w wschodnich prowincyach ze składką 100 marek“.

Związek liczy obecnie 22 bractw kurkowych i 1600 członków, pomiędzy którymi jest może 200—300 Polaków. Ci zatem nasi rodacy będą zmuszeni walczyć przeciw sobie samymi t. j. przeciw narodowości polskiej przez popieranie celów KHT, a cele te są dla nas w najwyższym stopniu szkodliwe i niebezpieczne, gdyż podobne są do celów komisyi kolonizacyjnej, która kupując ziemię, wyrzuca odwiecznych tubylców i osadza przybyszów na Piastowym łanie.

Kasa związkowa strzelecka w Prusach Zachodnich zawiera tylko 500 marek, a z tych poświęca się 100 marek, aby poprzeć bojowników Bismarcka, walczących przeciw nam pod znakiem KHT“.

Nad sprawą powyższą zastanawia się również „Gazeta Gdańska“ i scharaktery-

---

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

OSOBY.

Wanda, kompozytorka, lat 24.
Kazimierz, muzyk, jej mąż, lat 30.
Figura od koncertów, lat 59.
Karol, przyjaciel Wandy, lat 35.
Pani Wirska, obywatelka ziemska, lat 46.
P. Wirski, jej mąż, lat 60
Leon, adwokat, lat 30 } ich dzieci.
Rózia, lat 14 }
Dzieci robotników miejskich (lat od 8—15)
Józef, znajomy Wirskich, lat 30.
Żandarm.

Rzecz dzieje się w akcie I i III w Warszawie, w akcie II na wsi u Wirskich.

Akt I.

Wytworny, przeważnie pusty pokój Wandy. — Południe. — Fortepian otwarty. — Wanda sama, czyta Kuryer ranny.

WANDA (*zrywa się nagle*).

Co?... Co oni piszą?... Więc to nie moje?... Nie moje?... Więc czyjeż?... Ha! ha! Jego! (*Gwałtownie chodzi po pokoju.*)

(*Wchodzi Karol.*)

Ach to pan! Jak to dobrze! Jak to dobrze, że mogę przypomnieć sobie, że prócz... stada są... ludzie! (*ściska mu rękę nerwowo*).

KAROL (*z uśmiechem*).

Więc spotkałaś się pani z nowym zawodem, świadczącym o dzikim stanie człowieka? pani Wando! panią tak strasznie wstrząsa... co to jest?

WANDA (*urywanym głosem*).

Jam niepoprawna... to dla mnie upokorzenie ta zdolność przejmowania się krzywdą, wyrządzaną mi przez... ludzi... przecie oni nie mogą *nam* krzywdy wyrządzić! Krytyka śmieje się w głos z ich złych chęci... a jednak... (*chwyta się za głowę*) to drażni! to tak drażni!...

KAROL.

Cóż się stało?

WANDA (*j. w.*)

Lecz czy to może nie drażnić? Czy nie słusznem jest nasze żądanie sprawiedliwości?... Gdybyśmy mogli wśród nich nie żyć! Ale musimy... musimy... Całe życie nasze połączone głównymi arkanami z ogólnym światem! A ten świat ogólny jest w rękach bydła! √

KAROL.

Na Boga, pani, powiedz co się stało?

WANDA (*spokojniej, szyderczo*).

Wieszże pan, że nietylko utwory moje są dzikie, bez artyzmu, rozuzdane, niezrozumiałe... lecz nie moje! Fantazya „Między gwiazdami“ nie moja.

KAROL.

Kto to powiedział?

WANDA.

Recenzent.

KAROL.

I komuż ten pan przypisuje pani dzieło?

WANDA (*z uśmiechem*).

Kaziowi. (*Śmieje się.*) Widzi pan według niego niema nic kobiecego w mych kompozycyach... to męska siła rozhukana... Zkądby się wzięła kompozytorka? koncertantki istnieją: ale talenty twórcze, muzyczne, nie ukazały się nigdy wśród kobiet.

KAROL (*kończąc*).

Więc się nie ukażą nigdy... Więc talent pani jest podejrzanym... Zwykła logika: czegoś nie było, więc... tego być nie może — nigdy! Starożytni mówili, że ziemia jest płaską, więc — co za wymysł — jej sferoidalność!

WANDA (*wyciąga do niego ręce*).

Panie Karolu — jestem już zupełnie spokojna! Gdyby nie pan i tych kółko innych, ta nieliczna odsetka od kapitału głupoty, arogancyi i pospolitości, nie pozostawałoby mi nic innego jak powieszenie się.

KAROL.

Tego uczucia doznaje każdy, kto śmie wyrość po nad tłum filistrów, zjadaczów chleba i szablonów (*przypatruje jej się*). Panią życie

zowawszy zakusy niemieckie, tak pisze w numerze 91:

„Wobec tego pytamy: czy taka agitacya podszczuwająca jednych obywateli na drugich zgadza się z celami bractw kurkowych? Czy dalej polityczne bractwa kurkowe w myśl przepisów prawnych mogą stanowić jakieś związki? Czy wreszcie członkowie Polacy bractw kurkowych mogą być spokojni na to, dawać grosz swój do kasy związkowej, aby zań kręcić sobie bicz na własną skórę? Czyli godność narodowa i szanowanie siebie samych pozwalają przebywać dłużej w bractwach, które mają być rzekomą strażą niemiecką (!) nad Wisłą, czyli innemi słowy wypierać wszędzie żywioł polski, tubylczy?

Jesteśmy przekonani, że Polacy, należący do bractw strzeleckich, podniosą odważnie głos i zaprotestują przeciw takiej gospodarce i takiemu bobrowaniu w bractwach przez HKTystów, a gdy protest nie odniesie skutku, wystąpią z owej „straży niemieckiej nad Wisłą“. Gdyby tego nie uczynili, zasłużyliby na lekceważenie i pogardę ze strony przeciwników i wytykanie palcem przez swoich!

Wstyd i sromota byłaby, aby Polacy członkowie bractw strzeleckich nie byli stanowczymi i nie umieli bronić swej godności narodowej wobec takich ohydnych zamachów na wszystko, co polskie!“

—

Z powodu wydzierżawienia hotelu Wiktorya, gmachu zbudowanego ku wspieraniu teatru polskiego, żydowskiemu przedsiębiorcy, zamieszcza „Orędownik“ w numerze 175 następujące uwagi:

„Gazety poznańskie przyjęły wiadomość o wydzierżawieniu hotelu Wiktoryi p. Bernsteinowi w gmachu Pomocy teatralnej — na sucho i poprzestały na krótkich wzmiankach. „Dziennik Poznański“ napisał krótko, że „konieczność ochronienia Spółki od strat znaczniejszych“ zmusiła Zarząd Spółki wydzierżawić hotel — nieswojemu.

W publiczności odzywają się rozmaite głosy, a główną ich cechą jest determinacya, ta sama, jaka się objawia przy sprzedaży ziemi polskiej na Kolonizacyą. — Co zrobić? — mawia wielu, — nie ma wyjścia z kłopotów, kolonizacya jedyny ratunek dla obywatela ziemskiego, a p. Bernstein dla Teatru polskiego.

Znieczulenie jest wielkie; społeczeństwo poznańskie doszło do punktu, na którym nawet z najgorszemi wypadkami będzie się umiało pogodzić

Pytanie tylko: czy pan Bernstein stanie się — ratunkiem dla Teatru polskiego?

W Teatrze naszym się tli i już się kurzy, tylko nie wiadomo, na którem miejscu się tli. Zakurzyło w Hotelu Wiktoryi, ale czy kontrakt, zawarty z panem Bernsteinem przydusi ogień, to jeszcze pytanie. Gwarancyi nie ma na to żadnej.

Teatr nasz polski ma smutną przeszłość, przyszłość jego może być jeszcze smutniejszą. Roztrwoniliśmy lekkomyślnie 100,000 marek, złożonych na subwencyonowanie sceny. Błąd ten postanowiliśmy naprawić przez Spółkę Pomocy teatralnej, która zbudowała gmach frontowy, mający scenie polskiej zapewnić egzystencyę. Jeszcze trzy lata nieupłynęły, a nadzieje zachwiały się i okazała się „konieczność“ wprowadzenia żyda do gmachu teatralnego, żeby ratować Spółkę Pomocy „od strat znaczniejszych“.

Na czem polega i w czem się kryje ta „konieczność“, tego nikt nie uważa za potrzebne wyświecić.

Czy to może przez spekulacyę — na znieczulenie umysłów w Poznaniu?“

—

Tej samej sprawie poświęca „Dziennik Kujawski“ w nr. 176 następujące uwagi:

„„Pomoc“ zbudowała za fundusz, zebrany wyłącznie od Polaków, dwa okazałe gmachy. Od podwórza umieszczono napis: „Naród sobie“. Jest to nieszczęsne naśladowanie Czechów. Zaręczamy, że Czesi nie wypuściliby w dzierżawę hotelu żydom lub Niemcom, skoroby podobny napis położyli.

Dyrekcya może być o tyle uniewinnioną, że nie zgłosił się żaden Polak, któryby dawał rękojmię moralną i materyalną, że dotrzyma warunków ugody. Zgoda na to. Czy jednakże dyrekcya „Pomocy“ uczyniła dostateczne usiłowania, aby poszukać Polaka? Wątpimy o tem. W „Posener Zeitung“ były częste ogłoszenia o wydzierżawieniu hotelu, ale nie było ich w pismach polskich, n. p. w „Kuryerze Poznańskim“, „Orędowniku“, „Dzienniku Kujawskim“, a nadewszystko w „Katoliku“ oraz w pismach warszawskich i galicyjskich. Niepodobna przypuścić, aby wskutek ogłoszeń w licznych pismach polskich nie miał się znaleść przedsiębiorca rodak. Należało nawet spróbować przez pisma czeskie starać się o Czecha, któryby hotel wydzierżawił.

Największej zdziwia, że większa część gazet milczy o tej sprawie. Nie dziwimy się „Dziennikowi Pozn.“, ale „Kuryer Pozn.“ powinien był już dawniej tę sprawę poruszyć, a możeby się było uniknęło smutnego w każdym razie wypadku, że żyd zadzierżawił hotel, wystawiony zbiorowemi siłami narodu.“

—

„Goniec Wielkopolski“ zastanawia się również w nr. 178 nad powyższą kwestyą i takie wypowiada opinie:

„Dla jakich względów podtrzymujemy w Poznaniu z prawdziwem wytężeniem sił naszych i z wysiłkiem funduszy scenę polską? Dla względów idealnych: narodowych, estetycznych, etycznych. Dzisiaj „Pomoc“ dla względów materyalnych odłożyła na bok idealne.

Czyja wina? zapyta każdy; komu przypisać to nowe upokorzenie, tem boleśniejsze, że nie pochodzące od nieprzyjaciół, lecz niejako od nas samych, dobrowolne? Czyja wina? zapytywaliśmy i my osób kompetentnych.

„Pomoc“ stoi tak, że z ową różnicą finansową liczyć się musiała, to nie ulega zaprzeczeniu. I dla tego nie rzucamy kamieniem potępienia na tych właśnie, którzy dzisiaj wydzierżawili p. Bernsteinowi hotel; dla tego też nie pochwylamy gwałtownej napaści na jednostki, ani ogólnikowych zarzutów, że reflektantom Polakom „Pomoc“ wcale nie odpisywała i t. p. W takich razach trzeba występować z nazwiskami.

Ale rzecz inna z pytaniem, czy wolno społeczeństwu rozgrzeszyć „Pomoc“ bezwarunkowo. Pamiętać trzeba o tem, jak przed trzema jeszcze laty, przed budową kamienic, przestrzegano „Pomoc“ (przestroga ta zapisaną jest i w „Gońcu Wielkop.“), aby przedewszystkiem sama stanęła na silnych podstawach, aby policzyła swych członków i zmierzyła siły

Nie jesteśmy powołani do szczegółowej oceny finansowego stanu „Pomocy“, ale kontrakt z p. Bernsteinem dowodzi w każdym razie, że niedobrze gospodarowano, skoro dziś zachodzi potrzeba takiej kapitulacyi względów idealnych.

Słyszymy odpowiedź: łatwa krytyka; i to prawda, ale społeczeństwo od tych właśnie z członków swoich, którzy mu przodują, lub przodować mają pretensyę, ma prawo żądać, żądać musi, i wielkiej pracy i ofiarności, i zmysłu praktycznego, i ujawnienia tych wszystkich przymiotów nietylko w zarządzie prywatnego majątku, ale właśnie przy prowadzeniu instytucyi, których losy obchodzą szerszy ogół.

Przekonamy się niezadługo, o ile przydatną będzie kieszeń p. Bernsteina; — ileż ten teatr poznański już nas kosztował!“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Bułgarski tygodnik „Zname“, organ Karawelowa, pisze o księciu Ferdynandzie:

„Koburg jest z przekonania rusofilem. Wie, że Bułgarya nie może istnieć bez przyjaźni rosyjskiej, dla tego o to się ubiega. Dobrze. Jeśli tak w rzeczywistości, jestli Koburg rusofilem, to od niego zależy, aby temu przekonaniu dał wyraz. Jeżeli Koburg uznaje, iż Bułgarya bez Rosyi istnieć nie może, niechaj postąpi jak Battenberg i zrzeknie się tronu, niechaj nie stoi na zawadzie w porozumieniu się dwóch braterskich narodów. Koburg wiedzieć powinien, że jest przeszkodą, która psuje porozumienie z Rosyą. Jeżeli znajduje się w jego sercu sympatya prawdziwa ku narodowi bułgarskiemu, musi tę ofiarę ponieść i zrzec się tronu. Bułgarya wtedy tylko może swoją niezawisłość zachować, jeżeli się znajdzie w sytuacyi dającej jej prawno-polityczne gwarancye. Ta sytuacya wytworzoną zostanie, gdy wybór księcia uskutecznionyy będzie w myśl paragrafów traktatu berlińskiego“.

* * *

„Narodni Listy“ tak piszą pod nagłówkiem „Považlive czislice“ (Znaczące cyfry o sytuacyi ekonomicznej Czech):

„Porównywając dane statystyczne, tyczące się handlu wywozowego roku 1893 z rokiem zeszłym, widzimy, iż wywóz naszych produktów z wyjątkiem jedynym bydła znacznie się zmniejszył, a dowóz zwiększył. Różnica w jednym roku wynosi 50 milionów złotych.

„Cukru wywieziono w roku 1893 za 38 milionów zł., w roku zeszłym za 26 mil., zboża o 3 miliony mniej, owoców i ogrodowizny o 1 milion mniej, węgli drzewnych 1,500,000 mniej, wyrobów fabrycznych o 2 miliony mniej.

„Równoczesny ubytek wywozu, a wzrost dowozu dowodzi, iż Czechy wchodzą w kryzys gospodarczą, mającą znaczenie poważne. Najdotkliwszym jest nagły upadek wywozu fabryk sukna. Skutkiem ostatniego traktatu handlowego wywóz nasz skierowany został przeważnie do Niemiec, zkąd też dowóz pochodzi. Fakt

---

wśród nich zjada, przed zamążpójściem wyglądała pani inaczej. Oczy twoje pełne burzy i rozdraźnienia, czoło posępne. Co pani jest, pani Wando?

WANDA (*ściągając brwi*).

Żyję w piekle i o wybawieniu się z niego myślę, jak na wieki potępiony o wybawieniu.

KAROL (*ze współczuciem*).

Nie widzisz pani nadziei wyjścia?

WANDA (*gorzko*).

Tak, bo nie widzę możności walki. Tam, gdzie starcie się jest możliwem, jest i perspektywa zwycięztwa.

KAROL.

Więc trzeba je wywołać. (*serdecznie*) Pani droga, jestem twym przyjacielem od dzieciństwa. Wiesz, żem bezinteresowny i że bezinteresownemi są moja ciekawość i moja rada. Od pewnego czasu pożerasz się wewnętrznie i milczysz; patrząc na ciebie, widzę słowa protestu, palące ci usta. Dla czego nic nie mówisz?

WANDA (*z wezbraną goryczą*).

Bo mi trzeba wybierać między zniszczeniem się, a brutalnością; i wybierać nie mogę.

KAROL (*patrzy na nią z głęboką przyjaźnią*).

WANDA.

Ah — walka o byt! Walka o kość! Wstrętna!

KAROL (*smutnie*).

A jednak trzeba na nią się zgodzić pod karą zguby.

WANDA.

Deptać cudzą pierś, by własna mogła oddychać... to gwałt!

KAROL.

Czyż gwałtem nie jest duszenie pani?... Jeżeli nie chcesz pani być niesprawiedliwą dla drugich, to przynajmniej pamiętaj, żeś na równych prawach z niemi; jeżeli sumienie nie pozwala ci ich deptać, to niechaj to sumienie twoje nie zabija w tobie instynktu samozachowawczego.

WANDA (*z rozpaczą*).

Lecz to brutalne! dzikie! ohydne!

KAROL.

Więc wolisz pani zginąć pod naciskiem brutalności, niż zdobyć się na jednorazową odwagę zdruzgotania pęt, które cię przykuwają do cuchnącej pospolitości? Więc pani nie uważasz, że obowiązkiem jest spoliczkowanie arogancyi, ile razy się trafi sposobność. Więc pani chcesz zapomnieć, że powinniśmy wytępiać wszelkie chwasty reklamy, jałowości, panoszącej się, wzdętej blagi, bezczelnej pospolitości, wszystkie ropuchy społeczne, tryskające jadem na wszystko, co jest wyższością, prawdziwą zasługą, inteligencyą, talentem? Więc pani z rezygnacyą poddajesz się wszechwładztwu robaków, lęgnących się w bagnie. Więc pani nie wiesz, że jeżeli siebie egoistycznie bronić nie chcesz, to bronić się powinnaś przed utonięciem w szlamie jako przedstawicielka prawdy i wyższego rozwoju? Ależ to zbrodnia nie walczyć dzisiaj! Ależ to obowiązek społeczny wywalczać prawo bytu dla swej natury, dla swej siły, dla swego człowieczeństwa! I pani, pani rezygnujesz, pani Wando!

WANDA (*potrząsa głową*).

Pan nie wiesz, co mam na myśli... Z niechęcią, z podłą nienawiścią dla wszystkiego co wielkie, walczyć łatwo, i nie znam wahania. (*zaciska zęby*) Lecz gdy nas truje i dławi mdłość ludzka, gdy jak pająk, kręcąc się koło nas, wikła nas lepką i silną nicią, wysnutą z gruczołów czułości, gdy upoważniona przez swój dodatni charakter, despotycznie nas pochłania, chodzi nam po piętach, jak dozorca więzienny, gdy w jej objęciach doznajemy wszystkich katuszy niewoli, z tą różnicą, że zadane, by nas uszczęśliwić, nie powinny wywołać protestu, lecz wdzięczność, ha! Gdy porwanie tych nici jest brutalnością... Cóbyś pan wtenczas uczynił?

KAROL.

Dałbym w sposób chłodny do zrozumienia, że sobie tego nie życzę.

WANDA.

W sposób chłodny! Ależ ten człowiek wprost mnie zabija! plącze mi się wszędzie, gdziekolwiek się obrócę, spotykam się z jego wzrokiem zmysłowym, tępym, bałwochwalczym; brzydzą mi się jego ręce i drażnią słowa; ten człowiek swą namiętnością skupioną, ciasną

ten powinien w nas budzić obawę, bo tym sposobem stajemy się od Niemiec zależnymi.

* * *

„S r b s k i G l a s“ pisze o usiłowaniach podjętych ze strony papieża w celu połączenia kościoła wschodniego z zachodnim.

„W Austryi rzekoma zgoda kościołów wypadała zawsze tak, iż prawosławie przestawało być prawosławiem i ustępowało katolicyzmowi. Takiej zgody nie chcemy.

„Wiemy atoli o tem, że są narody słowiańskie, które naszych poglądów nie podzielają, Polacy i Chorwaci w pierwszym rzędzie. Polacy chcieliby przy pomocy Wiednia i Watykanu okatoliczyć Rosyę. Chorwaci dążą do tego, aby cały półwysep bałkański stał się katolickim.

„Ale my mamy dość odwagi i siły, aby przeciw tym tendencyom podnieść głos protestu. Nie chcemy nic więcej jak tylko zupełnej tolerancyi religijnej, tego tylko potrzeba Słowiańszczyźnie. Można wówczas dopiero mówić o porozumieniu, jeżeli uzna się stan rzeczy dzisiejszy.

„Niestety Słowianie dziś już walczą za sprawę cudzą, nie swoją, a głos decydujący mają Madziarzy i Niemcy“.

* * *

Bułgarski „M i r“ pisze pod nagłówkiem „Naszite zapadni dobrożelateli“ (Nasi zachodni „najserdeczniejsi“):

„W jednej dobie prasa zachodnio-europejska zmieniła wobec nas postawę. Nie piszą o nas nic dobrego, odkąd wypowiedzieliśmy głośno, iż jarzma niemieckiej polityki znosić nie chcemy, odkąd rozległo się przy pogrzebie Stambułowa wołanie: „śmierć Szwabom“. Popełniliśmy grzech ciężki wobec matuszki — zachodniej Europy, a grzech ten nie jest do odpokutowania. Pierwszym grzechem było usunięcie Stambułowa, drugim zbliżenie się do Rosyi, za to powinniśmy my Bułgarzy przed zachodem posypać głowy popiołem, a nasze niewiasty obciąć kosy. Bez Stambułowa Bułgarya dziś lub jutro stanie się prowincyą rosyjską.

„Taką jest mowa naszych najserdeczniejszych przyjaciół zachodnich!

„Więc czyżby jeden Stambułow był tyle wart co cały naród bułgarski, czy Bułgarya bez Stambułowa nie może być wolnym narodem i nie zajmować miejsca poczestnego wśród narodów europejskich?

„Sądzimy, iż tak nie jest. Bułgarya wówczas tylko silną być może i rozwijać się pomyślnie, jeżeli prowadzić będzie politykę, opierającą się na przekonaniach ludu“.

D. K.

BADANIA NAUKOWE.

Do jasnej góry.

II.

Jak wśród gromady pątników, idących do Jasnej Góry z szczerą wiarą i nadzieją ukojenia swoich bólów, czuć się musi żywioł obcy i odrębny, przesiąknięty powątpiewaniem, ale wrażliwy? Lekceważenie histerycznej dewotki, czyniącej wystawę ze swej nabożności, byłoby niewłaściwym czynem w stosunku do tych prostaczków. Można bowiem różnie oceniać pożyteczność roztaczających się przed nami stanów duchowych, lecz niepodobna nieuszanować głęboce szczerej indywidualności, która stanowi tam zasadę. Dla osoby zbyt wrażliwej, ktora nadto nie rozporządza wyrobionym probierzem do sądzenia o doniosłości tego lub innego objawu w życiu społecznem, istnieje przecież w pielgrzymce pewne niebezpieczeństwo: jaźń zbiorowa chwyta ją w swoje szpony, ubezwładnia ekstazą i podsuwa ocenę, która będzie i być musi tylko pochwałą. Wł. Reymont jest właśnie takim człowiekiem: połyka wrażenia, które zewsząd napływają do mózgu i w nim pozostawiają swój osad w postaci obrazów. Bezbronny wobec tych napastników, nie może być bezstronnym i przedmiotowym. Upojony falowaniem uczucia zbiorowego, zachwycony prostotą stosunków pomiędzy ludźmi, jaka panuje tam i obowiązuje w gromadzie pątników, ubezwładniony przez naiwną otwartość i brak konwencyonalizmów, otrzymane wrażenia kładzie na karb nie zawsze właściwej przyczyny, ale przypisuje wpływom dogmatu. Nie chcę przez to powiedzieć, ażeby autor pielgrzymki bronił tej tezy, lecz jego poczucie artystyczne wplata taki na pół niewypowiedziany wniosek w opowiadanie i zabarwia je pewną niechęcią dla umysłowości, która otrząsnęła z siebie filozofię, mającą na wszystko i z góry gotową odpowiedź. W świecie obłudy konwencyonalnej, gdzie każdy posiada swój numer i w którym wszyscy muszą jakoś nadsztukowywać swoją indywidualność, ażeby reklamowała siebie i wystawała ponad właściwą miarę, albo też ją poskramiać i zasłaniać, bo innych mogłaby razić, w świecie tym nie ma miejsca na podmuch gromadny, szczery, głęboki, właszcza zaś tak długi, wobec jakiego znalazł się pan Reymont. Falująca przed nim psychika zbiorowa ogłuszyła go i zarazem uśpiła w swoim powiewie, jak matka dziecko na ręku, on zaś w zamian działanie narkotyku gromadnego przypisał innemu źródłu i dalej rozszerzył. Na tle gromady, zacierającej wczelką osobowość, przy odgłosie jej mowy niezłonkowanej, złożonej z jęków i spazmów, wyprowadza on na stronnicach swojej książki ojca Prokopa, który już w sposób członkowany, t. j. powiązany logicznie za pomocą zdań uzasadnionych, usiłuje dać rodowód filozoficzny ekstazy i silnych uderzeń serc. Wł. Reymont w tym interwiewie — bo rozmowa z wymienionym ascetą w zupełności nosi taki charakter — przedstawia w sobie inteligencyę sceptyczną, która jest „jako trzciny stawów, zeschłe śród lata i trzepoczące liśćmi żółtemi nocą, słońcu i wiośnie“. Ojciec Prokop to upostaciowanie tego, co dokoła owych badyli drga życiem, kwitnie, śpiewa, cierpi wreszcie, lecz żyje; słowem to mózg, który w artystycznem uniesieniu autor „Pielgrzymki“ przyprawił pątniczej jaźni zbiorowej. „Inteligencya z tego zetknięcia wychodzi, skruchą dotknięta.

— Naprawdę, są to najmędrsi z mądrych, powiada o pątnikach rzecznik dogmatu. Wierzą! Nie pytają, nie wątpią, nie dociekają, tylko wierzą. To wy w nic nie wierzycie, ani w ludzi, ani w ducha, ani w materyę. Oślepili się sami i krzyczą, że nic nie ma, bo oni nie widzą!...

— Ojcze — odrzeka przedstawiciel inteligencyi — czy ojciec myśli, że to bez śladu przechodzi? że jest rozkoszą nie widzieć i nie mieć myślą nawet się gdzie zaczepić?

Przez usta p. Władysława Reymonta przemawia przedewszystkiem wrażenie, wyryte w umyśle jego przez jaźń zbiorową. Ta „Inteligencya“ ponumerowana, pełna konwencyonalizmu, w gruncie zaś zepsuta przerafinowaniem, próżna i bez godziwego celu w życiu, tak szaro wygląda w porównaniu z uderzającą o duszę pielgrzyma falą gromadnego zachwytu i szczerego czynu! Pielgrzymka więc do Jasnej Góry jest nietylko pouczającym przyczynkiem do poznania psychologii tworzącej się gromady, lecz prócz tego uwydatnia nam jeszcze sposób oddziaływania prostoty zbiorowej na jednostkę, przesyconą złożonością życia, usypiania jaźni pojedyńczej, a czującej swoją odpowiedzialność w zbiorowej. Zapał w gromadzie wzrasta w miarę bliskości miejsca świętego, wydając tony coraz trudniej, uchwytne w opisie, duchowość psychologa pielgrzymki równie wypręża się, chociaż w równoległej mierze. W książce daje się czuć rozdźwięk pod względem artystycznym; — zbyt silnemi barwami autor kreślił pierwsze wrażenia, i kiedy doszło do

---

i pustą po za uczuciem wzbudza we mnie niepokonany wstręt! Dreszcz odrazy mnie przebiega, gdy się mnie dotknie; obawa przed tym dreszczem prześladuje mnie ciągle; wspomnienie wstrętu odbiera mi wszelką swobodę myśli. Nie mogę być pięć minut sama, by go nie zobaczyć. A ja muszę! muszę być samotna przez trzy czwarte mego życia! Samotność jedna mnie uspakaja, daje energią, myśl, pobudza twórczość! A po za nią potrzeba mi towarzystwa myśli, nie pieszczot! Oddziaływania na cudze mózgi i drgania pod ich oddziaływaniem na swój! Myśli ogólnej, uczuć ogólnych, wspólnych interesów i celów! A on! on mi daje wstrętną strawę pospolitej namiętności — i chce, by mi ona wystarczyła! O! widzisz pan, nim przyszedłeś, wysłałam go na miasto z listą wymyślonych sprawunków, by zdobyć sobie wolną chwilę. Inaczej byłby tutaj.

KAROL (*milczy zamyślony*).

WANDA.

Widzi pan, doszłam do takiego stanu rozstroju, że brutalnie mówię o tem z tobą. Z początku wiesz pan, byłam mu wzajemną: połączyła nas wspólność zdolności, jego namiętność, pierwsza jaką widziałem, w odosobnieniu chłodnem, sierocem, upoiła mnie jak napój gorący na pół zamarzniętego... Czułam swą wyższość umysłową.

KAROL.

Lecz nie przypuszczałaś, by był tak tępy...

WANDA.

Widzi pan... namiętność w ludziach daje nam często złudne przypuszczenie, że są bogatemi duszami. Była chwila, gdy mnie siła jego uczuć zachwycała... (*macha ręką*) Co tam! Ja grałam, on rozumiał i dawał mi grać. Mieć przy sobie duszę, jeżeli nie umysłowo, lecz artystycznie rozwiniętą, kochającą i sympatyczną... i żyć więcej jako koledzy, niż kochankowie... tak mi się przedstawiało to życie.

KAROL.

I zawiodłaś się.

WANDA (*gorzko*).

Poczułam, że póki przewyższającem pojęciem o kobiecie w mężczyźnie nie będzie pojęcie jej jako człowieka, żyjącego szerzej i w imię dalszych celów, jako umysłowości w samoistnym bycie i wymagających poszanowania jej praw rozwoju i pracy, dopóty ta kobieta rozwinięta zawsze zbankrutuje w małżeństwie; dopóty mężczyzna, uganiając się za jej kobiecością, świadomie lub bezświadomie deptać w niej będzie i krępować człowieka.

KAROL.

Lecz rozwinięta kobieta czekać na zmianę musi, dopóki jej typ nie stanie się większością.

WANDA (*gorzko*).

Wiem, że się tego nie doczekam.

KAROL.

Czy ten stan rozdraźnienia trwa u pani od dawna?

WANDA.

Od dawna! przez jakiś czas zmiana mego położenia oszołomiła mnie, i nie miałam nad krytyki. Lecz przyszła chwila porównania i zdziwiłam się, widząc ogrom różnicy naszych uczuć... Wtedy ogarnęło mnie ogromne, litosne rozrzewnione współczucie... Byłam upokorzona stosunkiem tego, co czułam, do uczuć odbieranych... i to, co dać nie mogłam uczuciem pierwotnem, wynagradzałam tem współczuciem...

KAROL.

A on to brał za miłość...

WANDA.

Tak! i stawał się coraz natarczywszy, czulszy... Ujrzałam wtedy, że wskutek rzetelności zdradzam go... co gorsza, wikłam się w coraz głębsze nieporozumienie... Odepchnąć go, otworzyć mu oczy, to zranić go okropnie. Zostać jak dotąd, to go oszukiwać... I w ciągu tej walki wyczerpałam współczucie i został się ogromny i dławiący wstręt!

(*milczenie*).

(*Z zapałem*). Gdy ludzie nauczą się czuć rozumnie i tak bezinteresownie i skutecznie zarazem, że krępować kochanych nie będą... Gdy miłość zdobędzie się na poszanowanie praw wyższych człowieka, a namiętność ukorzy się przed myślą i będzie jednym z jej impulsów, wtedy miłość będzie rajem! Wtedy kochać — żyć!

późniejszych, napięcie obrazów jest słabsze, niż w rzeczywistości.

Zbliżenie pomiędzy gromadą, mającą w sobie zarodki harmonii duchowej, a przybyszem, który od niej odróżnia się nawet strojem, idzie zwolna i zwłaszcza z początku napotyka na trudności. Człowiek inteligentny podziwia namaszczenie na twarzy uczestników kompanii, oburzają go gapie, przypatrujące się tłumom pobożnym, ale lud stroni od niego, bo kultura pozbawiła go słów, któremi zdołałby się włamać do dusz gromady. Lody pryskają powoli. Pątnik-sceptyk zaczyna odurzać się narkotykiem zbiorowości, tchnieniem powabów wiosny. Analiza tego upicia jest nader pociągającą. Na noclegu w Belsku organy brzmią cichą, uroczystą psalmodyą, słowiki w sadach ukryte wylewają całe kaskady niewysłowienie miękkich tonów, miedziane zorze i fioletowe odblyski przeplotły przyrodę i kładą się na lud zebrany, który śpiewa w ciszy nadchodzącej nocy. „Nie, tylko mieć czucia tyle, aby objąć i wchłonąć to piękno wszystkiego, co się widzi i słyszy — woła p. Reymont. — Dusza jakby się podnosiła ze znużenia i jakby na tych rytmach śpiewów, grania, pieśni słowiczych, woni i barw rozwijała skrzydła, potężniała, rozszerzała się w nieskończoności i piła rozkosz i zapomnienia w tem źródle piękna. Wszystkie twarze jaśnieją, a wszystkie serca zgodnie śpiewają. Czuję, jakbym się zlewał i łączył z tym tłumem obok klęczącym i płynął strumieniem jednym z nimi... Pieśni i serdeczność dźwięków, i te odurzające wonie kwiatów, i tyle uczuć tętniących w tłumie, bije w moje serce i przenika je ekstazą. Nowy dreszcz, nowy i potężny! Klęczałbym na tym piasku, pod granatem niebios, przetykanym srebrem gwiazd, pośród tego tłumu rozśpiewanego. Niech mi tylko nucą coraz ciszej: „dobranoc, wonna lilio, dobranoc!“ niech mi tylko kołyszą duszę te brzmienia łagodne, te rytmy jakieś liliowe, ta harmonia serc zjednoczonych u stóp Niepokalanej.“ Przytoczony ustęp odkrywa drogę, przez którą dogmat wkracza do umysłów artystycznych, nieci tam nowe dążności i wypłasza ztamtąd dawny sceptycyzm. W tym zwrocie nie ma mowy o argumentach i dowodach rozumowanych, tylko działa ekstaza zbiorowa: „te brzmienia łagodne, te rytmy jakieś liliowe, w sojuszu z odurzającemi woniami kwiatów, z granatem niebios i z innemi powabami, które przyroda właśnie roztoczyła wtedy. Takiem jest źródło nawrócenia romantyków, którzy z sceptycyzmu protestanckiego i nawet z chłodnej analizy filozofii naukowej przerzucali się do dogmatu, połączonego z czcią N. Panny Maryi, w tem równie spoczywa przyczyna wezbrania powrotnej fali w powieści francuskiej. Orgie barw i dźwięków, odgłosu płaczów z tłem ekstazy duchowej przelewają się przez mózg, pociągają do siebie, wabią prostotą lub harmonią, w gruncie zaś rzeczy swoim zgiełkiem, przytłaczają myśl, która się przędzie w mózgu ze świadomością — uczucia religijnego, ściślej artystycznego, pod wezwaniem dogmatu.

Po jednej i drugiej takiej kąpieli w potoku ekstazy zbiorowej, po rozmowie z towarzyszami podróży i zaprzyjaźnieniu się z nimi, następuje zupełne zbratanie. Stan zaś nerwowy ówczesny staje się pomostem dla nowych sympatyi. „Dałem się porwać strumieniowi i płynę. Dokąd?... nie pytam, bo mi jest dobrze. Czuję, jakbym się coraz więcej zrastał z nimi. Wchodzę w jakieś ciepłe, mistyczne powinowactwo z temi duszami, zaczynam czuć tak samo, t. j. czuć rzeczy najprostsze. Przyjemność ruchu, oddychanie swobodne powietrzem czystem, zadowolenie odpoczynku pod gołem niebem, zwierzęca rozkosz najedzenia się byle czem i ten sam dreszcz dziwny na widok księży, kościołów, pięknych ceremoniałów, złoceń! I tak samo łzy zalewają mi twarz i spazm rozczulenia skręca mi serce, gdy usłyszę poważny głos organów, gdy mnie owionie mroczny chłód świątyń, gdy księża w przemowach używają pewnych pobudliwych wyrażeń: Bóg, kara, cnota, piekło, Amen... i mówią to patetycznemi głosami. Zmęczenie i jednostajność odbieranych wrażeń tak maluje moją wrażliwość, że już wielu rzeczy nie mogę sobie uzmysłowić, o wielu zapominam i dla wielu obojętnieję. Tak się zmęczyłem, że jest mi dobrze z tem, że mnie nikt nie zna i nie pyta o to: że jestem niczem, jednostką, bratem, cyfrą ogólnej liczby pielgrzymów, a nie żadnym panem N lub X, który nie może się pokazać bez maski jakiej takiej. Nie jestem nawet wolą, jestem tylko sumą mięśni, wprawionych w ruch i zautomatyzowanych, z natężoną ustawicznie czuciowością. Jestem tylko tętnem jednem tego serca, które ma przeszło cztery tysiące głów. Nikt tu nie ma maski, nawet imienia“.

Ekstaza jaźni gromadnej działa, rysuje w pamięci przyjemność doznaną po każdem poruszeniu, a zatem po spazmie rozczulenia na głos organów i po orzeźwiającym chłodzie świątyni wśród skwarów podróży. Wł. Reymont, kiedy w Częstochowie umyty, przebrany i przeobuty, zobaczył rozchodzących się towarzyszów podróży, to ogarnął go żal, że wędrówka już się skończyła i że wszyscy oni rozlecą się jak liście jesienią, aby się już nie zejść nigdy. Tak, wędrówka się skończyła i jej uczestnicy, nie znający siebie z imienia, zbierali się rozlecieć, ale w każdym z nich pozostał pewien czynnik, który z wszystkich współpątników, rozpierzchłych po dalekim świecie, utworzy przecież całość duchową, posiadającą wspólny punkt ciężkości i wspólne wspomnienia, — po przeżytej i doświadczonej jaźni zbiorowej. Utkwiły tam odgłosy, i drgania i zarodki, z których nieświadomej pracy mózgu powstaną pewne niejasne dążności. Autor „Pielgrzymki“ wstąpił do kompanii jako sceptyk. Pragnął przyjrzeć się pewnym stanom, ale fala zbiorowości uderzyła weń i o jego zmysł artystyczny. Opuścił on zastępy pątnicze jako inna duchowość. Nadal pozostał sceptykiem, ale kiedy na porządek społeczny wyjdzie jakaś kwestya, związana z odnośną sferą zagadnień i interesów, to zachowanie jego na pewno będzie odmienne, niż wtedy, zanim puścił się na świętą wędrówkę. Gdybyśmy zamiast niego wzięli osobę dotkniętą przez bardzo żywą boleść, która nurtując w głębi nie daje ani chwili wypoczynku, to ona może wróciłaby z Jasnej Góry zupełnie nawrócona, jak niegdyś Chateaubriand po stracie matki. Dogmat stanowi w tem wszystkiem rzecz najpodrzędniejszą: w pielgrzymce Hindusów nad święte wody Gangesu wkradłoby się to samo uczucie, jak równie podczas „rozmyślań“, t. j. zapomnienia o wszystkiem w zachwycie — buddhyjskim. Nabożeństwo dla Nirwany pomiędzy wytwornemi damami Paryża, spirytyzm szerszych kół tu i owdzie, neokatolicyzm i wogóle powracająca wśród świata artystycznego fala mistycyzmu dogmatycznego, wszystkie te prądy są tej samej natury. Wszędzie nie dogmat przekonał umysły i nie on je nawrócił. Nie o niego nawet tam chodzi. Analiza stosunku p. Reymonta do gromady pątników rzuca nam światło na rodowód tych zwrotów, przynajmniej na jeden ze strumyków nurtu mistycznego u dawnych sceptyków rzekomych. Wypływa on z artyzmu, z podziwu nad wewnętrznemi stanami wierzącego, wreszcie z zarazy moralnej, doznanej w gromadzie. Ktoś zaczyna skłaniać się ku pewnym obrzędom i zwyczajom, właśnie prowadzony takiemi względami; kiedy zaś już skosztował tego rodzaju słodyczy duchowej, wtedy daje też posłuch filozofii, ukrytej poza ceremoniami. W tym zwrocie dużo znaczą instynkty społeczne. Istota ludzka, porwana przez wir anarchii indywidualnej, zmuszona do wieszania na swojej twarzy obłudnego uśmiechu, orzeźwia się wśród drgań harmonii masowej, przyodzianej w formy niewyszukanego stosunku — szczerego a naiwnego. Może jeszcze coś nowego zaważyło. Po długiej a denerwującej pracy tęsknimy za odpoczynkiem gdzie daleko, w jakiemś cichem, prostem ustroniu; pragniemy nosić zwykłego kroju suknie, jeść niewybredne potrawy, posłuchać wiejskiej melodyi. Powracająca fala mistycyzmu

---

KAROL.

I tego się nie doczekamy.

(*Milczenie*)

KAROL (*smutnie*).

Więc niepodobna ci wybrnąć z tej sytuacyi?

WANDA.

A! gdybyś pan wiedział, co to za piekielne komplikacye do tego! (*milczenie*) te jego koncerty, by mi pozyskać sławę...

KAROL.

Czyś pani tego chciała?

WANDA.

Ja? Ależ każden jego koncert
mnie policzkiem! To afiszowanie s
światem ze swą miłością pełną z
siebie, to pracowanie na mnie, ta r
stwiania... (*zakrywa twarz rękoma*).
co powiem, bo on gra, jak mo
lecz ta gra...

KAROL.

Ja nie chodzę na te koncer
grę pani.

WANDA.

On ma więcej techniki, w
konawczego może... Lecz pa
miesz — ja stworzyłam te
w duszy już grały z wrodzo
wyrazem... Ja nutę każdą
mówić powinna... (*składa r*
ich znaczenie... Każe pyt

paczy rozbijać się swawolnie... (*stłumionym głosem*) i ja muszę tego słuchać. Sala bije brawa, a jabym miała ochotę... odpędzić go od fortepianu i pokazać jemu i wszystkim, że to parodya! parodya!

KAROL.

Dla czegoż pani słuchasz?

WANDA.

Bo nieobecność na koncercie wziąłby za
st, za brak uznania.

KAROL.

Czy pani tego pragniesz?

WANDA.

Błagam go zawsze, by zaprzestał!

KAROL.

Lecz mu pani nie tłomaczysz dla czego!

WANDA.

Jakże mogę? Spoliczkować jego dobre
ci?

KAROL.

Czy nie policzkuje pani talentu?

WANDA.

Ależ on się poświęca dla mnie!

KAROL.

I sprawia pani przyjemność?

WANDA.

Mękę dumy człowieczej i twórczej.

KAROL.

I pani, by mu oszczędzić przykrości, przyjmujesz jego ofiarę, mijającą się z celem, bo jest nim sprawienie pani przyjemności, a zadaje ból.

WANDA.

W innym razie jego duma, jako talentu, byłaby podeptaną (*zakrywa twarz rękoma*). Nie mówmy o tem! On mi już wyrzucał, że na moje usługi zmarnował swój talent twórczy!

KAROL.

Czy go miał kiedy?

WANDA (*gorzko*).

Wszak jest domniemanym twórcą moich kompozycyi.

KAROL (*rozdrażniony*).

I pani znosisz to deptanie swej dumy i wszystkich subtelności swej natury, by jego oszczędzić?... Ależ on ćwierci pani wrażliwości nie ma! Ha! tak dręczyć się dać może tylko kobieta! Przez obawę, by nie zgrzeszyć prawdą brutalną, dać się zabijać. Ależ on panią zabija!

WANDA (*smutnie*).

Powiedziałam to przed panem.

KAROL.

I znosić pani będziesz tę mękę, póki brutalność jego natury nie uderzy cię obuchem.

(*Wchodzą Kazimierz i figura od koncertu*).

KAZIMIERZ (*z zawiścią spogląda na Karola*).

Pan tutaj?

KAROL (*chłodno*).

Jak pan widzisz. Ale już idę, zapóźniłem

artystycznego to równie prąd poniekąd tej samej natury. Umysły wrażliwe, ruchliwe, ale łatwo męczące się, protestują tym zwrotom przeciwko poglądom filozoficznym, zbyt nużącym mózgi i zanadto narażającym na wysiłek. Jak prostota dam francuzkich w przeszłym wieku i sport prostego życia w otoczeniu łąk, białych owieczek, szarych domków nie zmieniły faktycznie trybu życia pasterek salonowych, podobnie uwielbianie prostoty filozoficznej przez pokolenie dzisiejszych artystów przemknie się tylko po powierzchni rozwoju duchowego. Ale oba prądy zrodziły się z tej samej potrzeby: chęci wycofania się ze złożonych, męczących form życia a przejścia do prostszych. Gdyby kompania składała się nie z ludu, lecz z osób zamożnych i tem samem nie odznaczała się taką prostotą w układzie stosunków wzajemnych, to bezwarunkowo nie oddziałałaby tak silnie na autora „Pielgrzymki“.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Strindberg i kobiety.

Wrzawa, wywołana swego czasu przez artykuł Strindberga „o niższości kobiet“, dziś dopiero zainteresowała autora o tyle, że próbuje się bronić przeciwko rozlicznym zarzutom. Ale i pismo, które dla sprawy swej obrał („Gil Blas“, d. 24 lipca r. b.) i ton, jakim przemawia, nie zdają się wskazywać, aby barbarzyński ten spór traktował na seryo. Przytaczamy poniżej najciekawsze ustępy z artykułu „Misogynia i Gynolatria“, powstrzymując się całkowicie od wszelkich w tej mierze komentarzy:

„Skoro posiadam opinię „nieprzyjaciela kobiet“ i skoro wszyscy chętnie mnie darzą podobną nazwą, muszę samego siebie zapytać, czy istotnie jestem takim.

Zaglądając więc we własną przeszłość, dostrzegam, że od chwili mojej dojrzałości żyłem zawsze z kobietami w stosunku prawidłowym i że obecnością swą sprawiały mi wrażenia przyjemne, o ile pozostawały wobec mnie kobietami. Ale gdy się stawały współzawodniczkami, zaniedbującemi swą piękność, tracącemi swój czar, nienawidziłem je instynktem zdrowym i naturalnym. Domyślałem się w nich wówczas nieco mężczyzny, oraz pierwiastków mojej płci, do czego w stosunkach uczuciowych mam głęboki wstręt. Postępowanie inne jest występkiem.

Byłem dwa razy żonatym, posiadałem pięcioro dzieci; nieprawdopodobnem jest przeto, abym był wrogiem kobiet. Swoją drogą może w tym zarzucie znajduje się odrobinka prawdy.

Któregoś dnia czytając w dzienniku, że dwanaście kobiet spaliło się żywcem w fabryce, poczułem radość okrutną:

— Dwanaście! Ach!...

Możliwem jest tedy, że dziś, gdy walka o byt stała się niesłychaną i gdy kobiety wchodzą na grunt męzki, zazdrość, usprawiedliwiona obowiązkami człowieka żonatego, wywołała moją nienawiść przeciwko intruzom.

Ale nie w tem powód bołączki.

Zdarzają się w naszych czasach ludzie śmiertelnie zranieni, wyczerpani nadmiarem pracy umysłowej i fizycznej, rozbici, których w chwili słabości ogarnął strach pustki i samotność, którzy, wróciwszy do dziecięctwa, poczuli nieprzepartą potrzebę szukania jakiejśkolwiek podpory, potrzebę złożenia swej głowy na łonie macierzyńskiem. W takich to chwilach, gdy brakuje człowiekowi wszystkiego, nawet filozofii smutku lub blagi, najsilniejszy nie oblicza wcale.

Lekarstwo na mózg wyczerpany istnieje tylko u źródeł życia, do których zejść należy, więc też człowiek-dziecko odnajduje życie, życie nieświadome przy kobiecie, która zawsze jest bez myśli i bez troski. Doznawałam tego sam i przez pomyłkę zmęczonego umysłu, przeceniałem kobietę w takich chwilach, jak w innych przeceniałem dziecko za uciechę, jaką mi sprawiało. Zapominałem, że można się odświeżyć po nadużyciach umysłowych, schodząc po etapach już przeszłych do najbardziej pierwotnego istnienia, że stać się można dzikim, polując, łowiąc ryby; że wreszcie można, nie bez korzyści, obniżyć się aż do bydlęcia, tańcząc, grając i upijając się.

Możemy się zachwycać dowoli naturą, krajobrazem, który bądź co bądź jest niżej nas, a czem się zachwycamy temu przypisujemy nadmierną wartość. Wrócić do kobiety, znaczyło dla mnie wrócić do natury, więc w cząstce mej duszy stawałem się nieświadomym, instynktownym dzieckiem, przez co odnawiały się me siły do myślenia, działania i walczenia.

I z tej to potrzeby, jaką wobec kobiet uczuwamy, wnioskują one o swej wyższości...

...Na szczęście lub nieszczęście — bo różnica nie jest wielką — człowiek ambitny nie może być długo kochanym przez kobietę.

„Kobiety przywykły, dzięki jakiejś nieznanej skłonności ich umysłów, spostrzegać w człowieku utalentowanym tylko jego wady, a w głupcu — jego zalety. Uczuwają wielką sympatyę dla zalet głupca, bo te są nieustannem pochlebstwem ich własnych wad“. Wyrazy te należą do mistrza mego Balzaca, najwierniejszego wroga kobiet, najwierniejszego ich kochanka, zakochanego aż do śmierci. Ale czyż istnieje sprzeczność pomiędzy temi dwoma krańcami? Kochać... nienawidzieć... Miłość — to nieustanna gorączka, przerywana przez omdlenia nienawiści. Tylko obojętność stanowi niemoc.

...Lubiłem zawsze dzieci i zawsze wiedziałem, że te ukochane istotki są małymi zbrodniarzami, dla których prawo nie istnieje, dla których moralność ma wygląd starego tetryka.

Kochałem zawsze kobiety, te czarujące obłąkane zbrodniarki, których najgorsze zbrodnie nie są spisane przez statystykę kryminalną. Ale że okazałem dobry czy zły gust, mówiąc, co o nich myślę, zemściły się, nazywając mnie „nieprzyjacielem kobiet“.

O, gdybyż te mścicielki wiedziały, ile szczęścia przyniosła mi ich zemsta! Ciekawość, pierworodny występek Ewy, przyciągnął do wyrodka mnóstwo naiwnych i wyrodek nie stawiał przeszkody w zaspokojeniu ciekawości najciekawszych. Ciekawość zresztą łatwa do zadowolenia. Dzięki wam, rozkoszne nieprzyjaciółki!

...Dwa tysiące mężczyzn pracuje nad własną zgubą, poświęcając się wyzwoleniu kobiety. Emancypacya kobiety, to znaczy pozbawienie zajęcia mężczyzny, nędza wykształconej męzkiej klasy, i wytworzenie dwupłciowej klasy kobiecej. Niech sobie niewiasty zdobywają nasze miejsca, niech czynią niesłychane próby, niech wywalają się z obowiązków rodzinnych, niech się nawet buntują przeciw macierzyństwu. Ale co mówić o mężczyznach, którzy rujnują fundamenty własnych fortec? Czyż stracili poczucie własnej płci? Czyż ich instynkt samozachowawczy zniszczył się na korzyść niewiast?

Prawdopodobnie, ponieważ się czują niższymi, stracili pojęcie o swej płci, a uwielbiając kobiety, wielbią nie kobiety, lecz... mężczyzn. Przewrotność!

Ubóstwianie kobiety jest ostatnim przesądem, wprowadzonym do Skandynawii przez Eskimosów, którzy się domagają odbudowania społeczeństwa na nowych podstawach, pragną nowego społeczeństwa dwupłciowego, podtrzymywanego przez karyatydy, wyobrażające amazonki.

Jeżeli czuję nienawiść do emancypantów, to dla tego, że lubię kobiety, i że gdyby

---

się. Żegnam panią (*całuje rękę Wandy*). Do widzenia.

(*Wychodzi.*)

WANDA (*wstając*).

Ach, zapomniałam mu powiedzieć, poczekajcie chwilkę (*wychodzi*).

KAZIMIERZ (*do figury*).

Siadaj pan (*patrzy niespokojnie na drzwi zamknięte, idzie w ich stronę, otwiera je*). Wandziu!

WANDA (*zniecierpliwionym głosem*).

Zaraz idę: nie przeszkadzaj.

KAZIMIERZ.

Czyż nie mogę słuchać?

WANDA (*j. w.*)

Nie, nie możesz. Więc potem pomówimy, panie Karolu. Do widzenia.

(*Staje w drzwiach naprzeciwko męża*).

KAZIMIERZ.

O czem ja nie mogę wiedzieć?

WANDA (*rozdrażnionym głosem*).

Zaczynasz być nieznośnym; ciekawam dla czego miałabym ci wszystko mówić. Nie jestem pensyonarką, a ty przełożoną pensyi.

KAZIMIERZ (*drżącym głosem*).

Jestem mężem.

WANDA (*uspakaja się gwałtem*).

Wiesz, że ten urząd pozbawiony jest dla mnie powagi, jesteś Kaziem, nieznośnym dzieciakiem, który się mojej sukni trzyma oburęcz.

KAZIMIERZ (*całuje ją w głowę, ona się wstrząsa*).

Powiesz potem?

WANDA (*hamuje się*).

Zobaczymy.

(*Podchodzi do figury*).

FIGURA.

Czy wiesz pani o świetnem powodzeniu...

WANDA.

Mego męża? Wiem.

FIGURA.

Państwo stanowicie jedną całość i pani powinna brać do serca dwuznacznika, umi... czonego w recenzyi.

WANDA (*rozdrażniona*).

Stanowimy bardzo różne dwie całości: twórczość jednego z nas nie jest naszą, ... tego z nas, w którym działa. Talenta się ... wlicza do inwentarza małżeńskiego. A ra... pan pamiętać, że choć na tego rodzaju potwar... i krzywdy nie ma trybunału, bo nie ma d... wodów dostatecznych dla wymierzenia sprawie... dliwości, są one gwałtem, podłością.

KAZIMIERZ.

Wandziu, jest sposób: moje wystąpienie.

WANDA.

Ha! ha! które wezmą za nowy dowód ofiarności mężowskiej! Daj pokój! Twórczość jest nagrodą samą w sobie; — ja tworzę, a że przypisują tobie tytuł własności... zabierz go w nagrodę za twe poświęcenie! (*po chwili*). Czy warto się sprzeczać?! O imię?! Dusza twórcza zostanie w mych dziełach! moja, moja dusza! A że to ja, która w nich drga i innymi wstrząsa nazwą Wandą czy Kazimierzem... mniejsza! (*zwraca się do męża*). Chciałam ...ę tylko prosić Kaziu... byś zaprzestał upiększać moje utwory ozdobnikami i trelami twego wymysłu... mogą one być bardzo piękne i dobrze ...dczyć o twej technice i... twórczości, lecz ... na miejscu. Chyba, że i ty uważasz że ...ompozycye są „naszymi“.

KAZIMIERZ (*smutnie*).

...ndziu, dla czego mnie obrażasz nie... wyrzutem?... One są twoje... prze...

FIGURA.

...nie szanowny, twe dodatki znako... wartość tych dzieł.

WANDA (*ostro*).

... należy prawo rozporządzania ...?

FIGURA.

...sz, nie słuchając rad doświad... fachowca obeznanego z gu... Jeżeli będziesz trwała ...dów, dokazanych przez męża, ... powodzenia.

(...dalszy nastąpi.)

się ich słuchało, nie byłoby wkrótce kobiet wcale.

Wróćmy do porządku!

M. P.

Kobiety w poezyi nowoczesnej.

(Laura Marholm „Wir Frauen und unsere Dichter“.)

Przed dwoma tygodniami zaznajomiliśmy czytelników „Przeglądu“ z treścią „Księgi kobiet“ Laury Marholmowej. Dzieło to w przeciągu krótkiego czasu wyszło już w trzeciem wydaniu i narobiło wiele wrzawy w kołach kobiecych. Feministki w zacietrzewieniu zaczęły wołać w niebogłosy, iż autorka śmiertelnie obraziła cały świat kobiecy i sprzeniewierzyła się sprawie emancypacyi kobiet. Renegatka i heretyczka śmiała postawić wyraźnie kropkę nad i. i wypaplała szczerze to, co spoczywało utajone na dnie duszy kobiecej. Feministki widzą alfę i omegę zbawienia rodu niewieściego w zupełnem uniezależnieniu kobiety od mężczyzny: niektóre zaś z nich zagalopowały się do takiego stopnia, iż rzuciły rękawicę całemu rodowi męzkiemu. Laura Marholm zdarła nielitościwie iluzyę z wybryków feministek i nazwała je po imieniu; pierwszym warunkiem szczęścia dla zupełnej woli i ekonomicznie niezależnej kobiety jest miłość ku mężczyźnie. Podniesiony alarm jeszcze nie ucichł, gdy Marholmowa ogłosiła nową pracę, pt. „Wir Frauen und unsere Dichter“, w której znowu wyraźnie zaakcentowała swe przekonania. Książka jest pisana nadzwyczaj pięknym stylem; szkoda tylko, że treść pierwszej połowy nosi zabarwienie zbyt niemieckie i dla tego mniej zainteresuje ogół niewieści innych krajów. Przewodnia myśl książki da się streścić w sposób następujący:

I w Niemczech wybija już na zegarze historycznym ostatnia godzina niewolnictwa kobiety. Maluczko a przestanie ona uważać siebie za nic nieznaczące zero, które jednakże w połączeniu z jedynką — mężczyzną, daje pokaźną dziesiątkę. Wydawało jej się, że całkowita treść jej osoby jest śpiącem, zaczarowanem królestwem, które na skinienie jego czarodziejskiej różdżki obudzi się do życia. Czasy te prawdopodobnie bezpowrotnie minęły. Pod tchnieniem nowych prądów rozwinął się w niemieckiej niewieście pierwiastek indywidualności i pod parciem tej siły stawia ona sobie pytanie: „któż ja jestem?“ zamiast, jak niegdyś, zapytywać się: „czyją ja jestem?“ Chce ona, jak Ewa, sama zrywać owoce z drzewa poznania dobrego i złego i dzielić się z mężczyzną, nie czekając, nim on to uczyni. Wprawdzie tendencya ta przyjęła dotychczas dosyć jednostronną formę. Współczesna kobieta niemiecka chce się stać przedewszystkiem jednostką ekonomiczną, istotą niezależną. Do tego mianownika da się sprowadzić istota boju emancypacyjnego, prowadzonego na forum publicznem i w zaciszu ogniska rodzinnego, w zebraniach kobiecych i w szpaltach prasy. Toczy się walka gorąca, zawzięta, w której przypłaca się często tryumfy skarłowaceniem samej natury kobiecej. Lecz oto na klawiaturze duszy kobiecej zaczyna rozbrzmiewać nowa melodya. Wprawdzie dotychczas słyszymy tylko pierwsze dźwięki, które nam niewiele mogą powiedzieć. Lecz już sama introdukcya napełnia serce kobiece dreszczem rozkoszy i jest zapowiedzią nowych, nieznanych prawie dotąd dążeń. Jestto „przeświadczenie o tem, iż istota kobieca przebyła pewien rozwój i wstępuje obecnie w stadyum uświadomienia swego „ja“ (des Ichbewusstseins). Cała dotychczasowa historya ruchu kobiecego była właściwie przygotowaniem fundamentu, na którym zostanie zbudowany nowy gmach. Najlepiej odzwierciedla dotychczasowe koleje emancypacyjnego ruchu literatura, ponieważ sama odgrywała w nim rolę ważnego czynnika. Poeta musiał przyjmować udział w losach kobiety, gdyż do nieba marzeń wprowadzała go zwykle jakaś Beatrice. Niemieccy poeci naszego stulecia, bez różnicy kierunków, poeci klasycyzmu, romantyzmu, 48-go roku i ich epigonowie, tworzyli, zapatrzeni w postać białogłowy. Stosunek pomiędzy mężczyzną a kobietą został jakby uduchowionym, wysubtelnionym. Wprawdzie rola każdego z nich była odmienną: on był skrzypcami a ona instrumentem, którego struny współbrzmiały cicho a czule, gdy o nie uderzała fala tonów duszy pokrewnej. I te właśnie tony grały często rolę pobudki. Pod wpływem książek zajaśniały w duszy Niemki błyskawice nowych potrzeb. I choć dalej gotowała kawę, trzepała dywany, przyjmowała gości, cerowała i heklowała, z poezyi wpływały strumieniem do jej serca wzniosłe myśli, które pozostawiały tam niezatarte ślady. Podczas jej służby pańszczyźnianej w gospodarstwie poeta pieścił jej ucho słodkiemi motywami o bogactwie jej duszy i zdawało się, że motywy te opasują ją swemi ramionami i unoszą na wyżyny, gdzie pierś oddycha swobodniej. To też bardzo wiele robiło wysiłki, by wzlatywać nad poziomy; te, które posiadały talent, wzbijały się dosyć wysoko, inne, zatrzepotawszy słabo skrzydłami, spadały z powrotem na ziemię, by zostać skazanemi na szare, monotonne życie, równające się wegetowaniu, bez przebłysku nadziei wyjścia kiedykolwiek z deptaka pracy niewolniczej. Lecz czasy się zmieniły. Poeci przestali być rycerzami, błagającymi na klęczkach o niebiański uśmiech; galanterya poszła do kąta. Już „młode Niemcy“, które pchały społeczeństwo swoje na nowe tory, starały się w kobietach rozdmuchać iskrę niezadowolenia w pożar protestu; poeci tej epoki, widząc się samotnymi, upatrywali w kobietach dusze współczujące, zachęcające do walki. Wstrząsali oni kobietami, robiąc poczęści przewrót w ich duszach, ale pryzmat apostolstwa i idealizacyi nie pozwolił im widzieć niemieckiej kobiety w świetle prawdy.

Pierwszy, któremu się udało odfotografować, odcyfrować i odczuć duszę kobiecą, był Keller. U niego widzimy dobrą, poczciwą Niemkę, która potrafi oddać się całą duszą, przelewając w miłość swą pełnię swej istoty ze swą pierwotną inteligencyą, sięgającą głębi instynktu. Były to wprawdzie dusze pierwotne, które stały dopiero na progu świadomości. Dzięki temu, że niemiecka kobieta ujrzała swe odbicie w utworach Kellera, zaczęła poznawać siebie. Te same zasługi a nawet większe posiada względem niemieckiej kobiety Paweł Heyse. Nie był on specyalistą od pewnego gatunku kobiet, jak to widzimy obecnie u francuzkich pisarzy. Heyse starał się odkryć w kobiecie jej zupełnie specyficzne „ja“, którego mężczyzna nie może zrozumieć, gdyż mierzy je łokciem własnego ducha i stara się je ująć w kategorye swego własnego wewnętrznego świata, który jest przecież czemś zupełnie odrębnem. Kobieta dotychczas występowała w powieści, jako niedoświadczona parafianka, widząca w mężczyźnie fetysza. U Heysego odzywa się w niej od czasu do czasu nuta sceptycyzmu, lecz w każdym razie rzadko. Gdy Niemka czytała Heysego, drgały wszystkie struny jej duszy, z których ten autor swą delikatną ręką wydobył czarujące pieśni o urokach jej serca. Lecz czasy sielankowe mijają i oto odzywają się odległe grzmoty walki emancypacyjnej.

Na Olimpie zasiada Ibsen, pasujący kobietę na rycerza boju. Jego bohaterki są córami innego pokolenia, owianego smutkiem struggle of life, tej nieubłaganej walki, która wżera się w każdą porę duszy i osusza każde źródło radości, ta walka o byt wycisnęła swe piętno i na światopoglądzie kobiety. To, co ją wiąże z poprzednią generacyą, jest — jak wyraża się Marholmowa — „der Ausspruch an die Cultur ihres Ich“. U Heysego panuje atmosfera świąteczna, wiosenna, słoneczna; u Ibsena jest życie powszednie, szare i smutne. Kobiety pierwszy raz zapytują swych opiekunów, dla czego zabierają im światło i powietrze, dla czego chcą

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

Po upływie dni kilku — poszedł. Na odgłos dzwonka zjawiła się w przedpokoju służąca, która w drzwiach zaraz mu oznajmiła, że nikogo w domu niema i pan poszedł z panienką w odwiedziny. Zdziwiło go to trochę, gdyż nigdy ich dotąd razem wychodzących nie widział, lecz zresztą... być może... Dnia następnego wieczorem przyszedł znowu: lecz i teraz w domu ich nie było. To szczególne! Zapytał służącej, dokąd pójść mogli? nie wiedziała, sądziła jednak, że w najbliższym czasie wszystkie zajęte mieli wieczory.

Zwolna schodził po schodach. To najoczywistsze kpiny! — myślał. Co to wszystko znaczy? cóż się stało? Cóż u licha stać się mogło!

Przyszedłszy do domu postanowił napisać do Engelki i prosić ją o rozmowę. Był w obawie i szczerze zmartwiony, gdy list rozpoczynał, lecz w miarę pisania, stawał się ton listu, mimo jego woli, coraz więcej żartobliwym. Dziwił się niezmiernie nagłemu wzrostowi ich towarzyskich uczuć, teraz, kiedy sezon miał się już ku końcowi. Chyba tem nie osłaniają złośliwych jakich planów?

Czy gniewa się jeszcze na niego? Czem mógłby grzech swój, którego zresztą nie uznaje, odkupić? Możeby owego misyonarza ludowego Nörgaarda o przebaczenie prosić?! tego chyba nie żąda ona od niego. Co właściwie zaszło?... „Engelko, ja się boję!“ — pisał — „przyjdź jutro do mnie, przyjdź, porozumiemy się trochę; czy nie jesteś znowu na obiad gdzie proszona?...

Nazajutrz siedział w pokoju swym, niecierpliwy, niespokojny... czekając na nią. Zadzwoniono: czemprędzej wyszedł do przedpokoju, lecz w miejsce Engelki ujrzał we drzwiach posłańca. Wziął gniewnie list z jego ręki i wszedł do pokoju.

W środku pokoju przystanął — czuł, że blednie: w liście poczuł przez kopertę coś twardego.

Przez chwilę patrzał w osłupieniu na kopertę.

„Wielmożny asesor Jerzy Bergström“... poznał drobny delikatny charakter jej pisma. Wyjął scyzoryk z kieszonki, otworzył go i mechanicznie prawie przeciął kopertę. Teraz wypadł z niej pierścionek, jej pierścionek! Załączoną była karta z słowami: „od Engelki Pauli“ własnoręcznie przez nią napisanemi, — ani słowa więcej.

— Od Engelki Pauli! — to wszystko!

Odłożył kartę na koszyczek, a pierścionek wraz z scyzorykiem wsunął do kieszeni. Doszedł do okna i wyjrzał.

— A więc już po wszystkiem!

— No, ale cóż dalej?... Stał tak długo w zamyśleniu. Nagle tupnął gniewnie nogą, a krew uderzyła mu do głowy.

— To być nie może! ależ to szaleństwo! — wykrzyknął głośno. — Co to ma znaczyć? Naturalnie, że musiał ojciec sprawę tak pokierować... lecz poczekaj, moje dziecko, wszak i ja tu mam głos w tej kwestyi!... Ja miałbym Engelkę stracić! Boże, co to się stało? — wykrzykiwał oburzony, jak gdyby teraz dopiero pojmować zaczynał, co zaszło... Engelkę stracić! moją drogą, kochaną, jedyną, małą dzieweczkę! ją, którą tak kocham!... Cóż oni z nią uczynili? Co zaszło na Boga? To nieporozumienie chyba, kłamstwa, oszczerstwa być musza! A może, powaryowali wszyscy — zapewne oszaleli wszyscy!... Co tu robić?... prędko, któraż to godzina? — Spojrzał na zegarek: było pół do dwunastej.

Czemprędzej wpadł do przedpokoju, porwał kapelusz i szybko zbiegł ze schodów.

— Teraz jest pora śniadania — pomyślał — muszą zatem być w domu. Wejść do nich

im podciąć skrzydła, choć sami im następnie robią wyrzuty, że nie szybują pod niebiosami. Ibsen wpuścił do zmroku średniego stanu promień, który oświetlił całą nędzę i ubóstwo bytu kobiety w tej sferze.

U Heysego wszystko tchnie sympatyą i zgodą, tu zaś wre walka nieubłagana, bez względów i pardonu. Typy Ibsena są na wskroś nowoczesne. Oto mamy przed sobą Heddę Gabler, istotę bezpłciową, olśniewającą flirtem, przyciągającą mężczyzn dla zabawy, lecz odpychającą ich, gdy chcą awansować. Marholmowa odkrywa w niej w pewnem znaczeniu pierwowzór kobiet, głoszących ewangelię bratersko-siostrzanej miłości pomiędzy mężczyzną a kobietą. Jestto rodzona siostra Swewy z „Rękawiczki“ Björnsona, tej naiwnej dzieweczki, która żąda od mężczyzny niepokalaności, i Anny Mahr, studentki z „Samotnych“ Hauptmanna. Podobny typ znajdujemy już „W raju“ Heysego. Nie należy atoli zapominać, że kobiety północnych pisarzy są zawsze plebejuszkami. Mamy tu do czynienia z inteligentką, pochodzącą ze średniego stanu, nieomijającą szkopułów życia i zwalczającą jego sprzeczności, gdy grożą zgnieceniem jej. Masa kobiet pozbywa się zależnego stanowiska w rodzinie, odgrywając niekiedy rolę głównej podpory. Kobieta przestaje być darmozjadem, laleczką. W świecie ścierania się interesów, w świecie podstawiania sobie nóg i kopania dołków i ona stoi jako równoprawna bojowniczka. Bierze przebojem zawód za zawodem i wreszcie zostaje wpuszczoną wszędzie, dokąd jej zagradzały drogę przesąd i tradycya. Wkrótce prawdopodobnie twierdza niewolnictwa kobiecego zupełnie runie. I gdy pracujące kobiety, po wielkich trudach i wytrwałości, skołatane życiem, osiągają cel i wchodzą do ziemi obiecanej wolności, co wtedy? — zapytuje Marholmowa. Gdy zajrzę do lustra, widzę, „iż wzrok ich jest zmęczonym, policzki wpadły, skóra zwiędła i zblakła od bezkrwistości, czują się osłabionemi i spracowanemi; najsłodsze instynkty kobiece milczą w nich lub przemawiają dorywczo i nierówno. Praca i praca — radości mało. Na cóż im więc wolność?“ Lecz niech kobieta zajrzy do innego zwierciadła — do literatury. Nie owionie jej lekki zefir, muskający pocałunkami miłosnego uniesienia; poeta nie prowadzi jej przez raj słodkich marzeń w objęcia ukochanego mężczyzny. Piewca kobiety opowie jej, że jest wyrzutkiem, wszetecznicą, ciężarem, którego się trudno pozbyć, zbytkiem, pochłaniającym krocie, malum necessarium, jest subjektem lub objektem, który nigdy niepotrafi zrozumieć mężczyzny, zajrzeć do tajników jego duszy, zaakompaniować jego uczuciom. Tak wygląda kobieta u Strindberga mizogyna. Lub weźmy innego pisarza północy: kobieta jest wieczyście stworzoną dla niewoli; jest zbyteczną i szkodliwą, dopóki pozostaje kobietą, znośną tylko wtedy, gdy wyrzeka się swej płci. Tak przemawia Tołstoj. I oto stają naprzeciwko siebie mężczyzna i kobieta, i zamiast kochać się, nienawidzą całą duszą i szczerzą zęby. Przerwaną została nić wzajemnego zaufania i sympatyi. Tu Marholmowa daje wodze swemu rozgoryczeniu. Utylitaryzm, który zapanował we wszystkiem, stał się probierzem i w kwestyi kobiecej. Czyż potrzebna mężczyźnie udelikatniona kobieta? Bynajmniej! Jest mu nawet niewygodną. Gdy mu brak pieniędzy, poślubia bogatą pannę; gdy zachciało mu się gniazdka rodzinnego, żeni się ze swą kochanką, t. zw. Verhältniss (w Niemczech każdy przeciętny młody człowiek i każda przeciętna panna ze stanu średniego i niższego, mają t. zw. Verhältniss). Uzdolnione, szlachetniejsze, są pozbawione praw do miłości i dla tego też łączą się razem, stroniąc od mężczyzn. Tkwi w tem wielka tragedya. Kto interesuje się tą kwestyą, niechaj przeczyta pamiętnik Baszkircewoj lub biografię Soni Kowalewskiej, napisaną przez Edgren-Leffler-Cajanello, a wtedy się dowie, jak kobieta stara się uciec od mężczyzny, zyskuje własną pozycyę i przez fatalizm lub nieubłaganą siłę ciążenia wraca znowu do punktu wyjścia i skierowuje swe liście w stronę słońca — mężczyzny.

Takie są ogólne wywody autorki. W szczegóły, oczywiście, wdawać się nie możemy. Pełną ciepła i uczucia jest charakterystyka poezyi Heysego. Po mistrzowsku kreśli autorka dwa okresy działalności Ibsena: pierwszy, gdy walor ideałów a między innemi kobiecego, podnosił się w górę — i drugi, okres à la baisse, gdy Ibsen, jak paw, zaciera ogonem ślady swej poprzedniej wiary, uniesień i marzeń.

Nadzwyczaj udatnie i z pewnym humorem jest skreśloną sylwetka Björnsona, żądającego coute que coute od mężczyzny niewinności. Trafnie w związku z tem jest opisane upojenie emancypacyjnego ruchu w Skandynawii. „Nikt nie zrozumiał wtedy — mówi autorka — że w ruchu tym wystąpiła na jaw jałowość wyobraźni i charłactwo duchowe średniego stanu, który dziękuje Bogu, gdy „ulokował“ swe dziecko i płacze z radości, gdy zostaje uwolnionym od trosk o wydanie zamąż córki“. Tem właśnie tłomaczy sobie autorka znaczną popularność teoryi Björnsona wśród chłopów. Są oni wielkimi przyjaciołmi ruchu emancypacyjnego kobiet. Że kobieta powinna pracować na równi z mężczyznami — do tej myśli norwegski chłop dawno się przyzwyczaił; nie jest dla niego nowością, że niewiasta w sprawach gospodarstwa i zarobku powinna posiadać prawo głosu. Najbardziej zaś przypada mu do smaku, że zamiast ubożyć kieszeń ojca, córka wniesie do szkatuły rodzinnej swą długoletnią pracą, jeszcze kilkaset talarów. Wprawdzie córka nie zazna rozkoszy miłosnych, ale wynagrodzi to sobie zaoszczędzeniem grosiwa, które pozostanie w rodzinie.

Wycieczki przeciwko lekkomyślności mężczyzn, zaprawione biblijnem krasomówstwem, zastępują mu miejsce kazań kościelnych, które przy odpowiedniej stylizacyi i w dozach homeopatycznych jeszcze na długo nie stracą kredytu w jego oczach. *H.*

Tomasz Henryk Huxley.

Druga połowa naszego stulecia, o ile wykończyła i ukształtowała teoryę rewolucyjną, pod względem naukowym może być nazwana śmiało okresem przewagi angielskich myślicieli. Pominę tę okoliczność, że życie ekonomiczne Zjednoczonego Królestwa po raz pierwszy natchnęło badaczy gospodarki krajowej myślą o stałej i rozwijającej się zmienności zasad ekonomicznych; pominę także i ten fakt, że w Antropologii uczeni anglo-saksońskiej rasy, mający najlepszą sposobność do badania zamkających ras i plemion w Ameryce i Australii, pierwsi ugruntowali systematyczną i iście naukową ewolucyę ludzkości. Niezależnie od wszelkiego postępu, jaki nauka ostatniemi czasy zrobiła i wciąż robi, cały nasz gmach filozoficzny, pod dachem którego skrzętnie gromadzimy nowe szczegóły, opiera się bezwarunkowo na czterech kolumnach, których nazwy są: Darwin, Huxley, Tindal i Spencer.

Dnia 29 czerwca b. r. z tej czwórki tylko Spencer pozostał żywym; Huxley bowiem, po kilkomiesięcznej walce z chorobą, zmarł w Eastbourne, morskiem miejscu kąpielowem na południu Anglii. Smutna wieść dotknęła niemal wszystkich mieszkańców kraju, gdyż niewielu znajdujemy tu takich, którym obce jest nazwisko zmarłego uczonego. Z pośród tych czterech nazwisk imię Darwina rozlegało się jak grom, nawołując jednych do gromadzenia się pod sztandarem prawdy, drugich strasząc jako nieczysta siła; imię Spencera ostatniemi czasy zbyt często pojawiło się na polu starć politycznych, by nie być obrzucone błotem, jakie ciskają zwykle pyszałki i ciury wszystkich obozów; Tyndall był zawsze spokojnym, oderwanym od życia uczonym, który szukał odosobnienia. Inaczej zupełnie postępował Huxley.

W swej króciutkiej autobiografii, która poprzedza zbiorowe wydanie popularnych rozpraw autora „Świeckich kazań“, Tomasz Henryk

---

muszę, chociażbym miał drzwi wysadzić! Tego już trochę zanadto!

Szybko przebiegał ulicę, myśląc o tem, jak tam wejdzie, co im powie? Doktora nie obawiał się bynajmniej; może nie wiedział on nawet o tem, co uczyniła córka, — któż mógł to wiedzieć? Lecz, gdyby to nawet za jego stało się zgodą, za jego inicyatywą, wówczas cieszyłby się właśnie ze sposobności podjęcia z nim walki. O, bo miał on teraz siły olbrzymie! czuł to dobrze. Lecz Engelke? tak, cóż jej powie? Ach, to byłoby nie do pojęcia, gdyby tak nagle stracić miał swą nad nią władzę! To wprost niemożliwe! Gdyby tylko odczuć umiała, jak on ją kocha! w tem najlepsza broń jego na jej upór... a jak on ją kocha!

Teraz doszedł już do celu, stanął przed bramą i w tejże chwili podniósł oczy; lecz nagle doznał uczucia, jak gdyby go coś w piersi ukłuło, tak gwałtownie, że tchu mu prawie zabrakło... Na parę kroków przed nim stał Nörgaard. Bergström stanął jak wryty. Nörgaard spojrzał na niego, podszedł więc bliżej jeszcze, sam nie wiedząc co czyni, — oczy zwrócone miał wprost na przeciwnika, którego spojrzenie spokojnie wytrzymał... Nörgaard niedbale uchylił kapelusza, a na bladej jego, szkaradnej twarzy, ukazał się gorzki uśmiech.

— Dzień dobry! — rzekł. — Pan w tę samą, zdaje się zmierza stronę, panie Bergström?

— Nie!... właściwie... jąkał się drugi — ja...

— A więc nie? — śmiał się Nörgaard, ukazując żółte swe zęby. — To się rozumie zresztą; ludzie rychło się poznają na oszczercy!

Spojrzał na niego z nienawiścią i znikł we drzwiach natychmiast.

Bergström pozostał osłupiały. Poszedł potem w dół ulicy, patrząc przed siebie nieprzytomnie. Nagle jednak wrócił się i przybiegł prawie do bramy; tu znowu zatrzymał się bezradny... Co tu począć?... Nörgaard... on tu... Co to było właściwie?

Przez chwilę stał, patrząc bezwiednie na bramę zamkniętą... To przecież niemożebne... szalone... może śni tylko? mimowoli oczy ręką przetarł... może to złudzenie? przykra wizya?... Skąd on się tu wziął? Jemu zabroniono tu przychodzić...

Jemu zabroniono... — powtarzał z rozpaczą. — A może... — pomyślał, jak gdyby nagle mu się rzecz wyjaśniła. — Już wiem to jest rozwiązanie zagadki... Tak!...|

— Szatan! — krzyknął na głos, ku wielkiemu zdziwieniu przechodniów; to go oprzytomniło, poszedł więc dalej. Szedł z głową spuszczoną, a goryczą wzbierała w nim coraz bardziej. — Chwała Bogu — pomyślał, że mi się oczy otworzyły!... takie indywidua! miły Boże!... A z nią miałem rzeczywiście odwagę, na całe związać się życie!... Czy słyszał kto coś podobnego? Jakie to w rzeczywistości wszystko tchórzliwe, zwyczajne! żeby przed takim Nörgaardem plackiem padać na ziemię! Szkaradne... do licha!

Uczuł zimno dotkliwe, dla tego pospieszył do domu. Był już zupełnie zdecydowany na to, co uczynić teraz zamierzał.

Przyszedłszy do domu, siadł przy biurku i nie namyślając się ani chwili, zdjął pierścionek z palca, włożył go do koperty i dołączył kartę ze słowami: „od Jerzego Bergström“ — nic więcej. — Równem odpłacić należy! — rzekł do siebie. Nawet pismem swojem naśladował pismo Engelki, ozdabiając je różnemi upiększeniami. Chciał, by tchnęło melancholią... włożył je potem do koperty i odesłał.

Z podniesionem czołem, ze spokojem oczekiwał teraz dni następnych. Lecz ciężej mu było, niż przypuszczał. Myślał ciągle o Engelce i... tęsknił... Tak, ta tęsknota za nią, którą widok Nörgaarda w pierwszych dniach trochę był przytłumił, stawała się teraz z dniem każdym żywszą, i cicho, lecz stanowczo, wkradała się w jego duszę... Gdziekolwiek był, widział w myśli delikatną jej postać, słyszał wszędzie głos jej cichy a oczy jej jasne czuł obok siebie ciągle... Teraz dopiero czuł, jak bardzo ją kocha... teraz gdy stracił ją nazawsze! Wobec dzisiejszej miłości, jak słabem, drugorzędnem, mimowolnem prawie — wydało mu

Huxley z pewną lubością wspomina o swej matce, która była „wysmukłą brunetką“, wrażliwego i energicznego temperamentu, o tak przenikliwym wzroku, jakiego nie spotkałem u żadnej kobiety. Bez większego wykształcenia, jakie wówczas było udziałem kobiet z klasy średniej, miała ona wszakże olbrzymie zdolności umysłowe. Gdy jej ktoś zauważył, że przychodzi do ostatecznych wniosków bez długiego namysłu, odpowiada spokojnie: „Nie mogę temu zaradzić; sprawy te przenikają mnie błyskawicznie!...““ I Huxley upomina się o to, że odziedziczył po matce i tę błyskawiczność myśli, i tę energię, i ten zapał, i tę wrażliwość. Zobaczymy, że uczony ma słuszność, że spadek ten rzeczywiście i na szczęście ludzkości całej odziedziczył.

Innym był ojciec Huxley'a, nauczyciel z zawodu. Umysłu leniwego, pedagog ten spełniał swe rzemiosło sumiennie, ale bez zapału i bez samodzielności. I nie dziw temu, bo wówczas szkoły angielskie, a przedewszystkiem prywatne, smutny przedstawiały widok. Ojciec Huxley'a był wszakże sumiennym pedagogiem, rozumiejącym dobrze, iż syn jego, pomimo wszelkich starań, niewiele korzyści wyniesie ze szkoły. To też doradził on synowi pracować samemu, czytać w domu, zaznajamiać się z literaturą obcą, a w szczególności z literaturą niemiecką. Tak kształcił się Tomasz Henryk bez systemu, bez planu, aż do siedemnastego roku życia, kiedy ze szkoły ojcowskiej przeniósł się do szkoły medycznej w Londynie. Huxley wybrał studya lekarskie bez wszelkiego do nich zamiłowania; przez długi czas nosił się on z projektem ukończenia szkoły technicznej, ale ostatecznie wybrał medycynę. W Londynie nauka nie szła wcale lepiej: oto co pisze sam Huxley: „Przypominając sobie „L e h r j a h r e“, nie sądzę, by sprawozdanie z nich mogło być budujące. W samej rzeczy raczej uroczyście ostrzegałbym pracowitą młodzież, by nie naśladowała mojego postępowania. Pracowałem usilnie, gdy miałem ochotę, a gdy takowej nie było, co się zdarzało bardzo często, próżnowałem (trudno nazywać karykaturowanie profesorów i pastorów pracą) — albo też traciłem mą energię, zużywając ją bezpłodnie w najrozmaitszych kierunkach. Czytałem wszystko, co mi w rękę wpadało, włączając i powieści, i rzucałem się na różne sprawy, które zaniedbywałem z tą samą chyżością. Bezwątpienia muszę winę w znacznym stopniu sobie samemu przypisać, ale z drugiej strony zaznaczę, że jedyne przyzwoite i systematyczne nauczanie, które przypadło mi w udziale, stanowiły lekcye fizyologii profesora Wharton Jones'a...“ Wpływ tego ostatniego na młodszego Huxley'a musiał w istocie być wielkim, kiedy, jak wiemy, wszystkie późniejsze prace i badania uczonego angielskiego poświęcone były głównie fizyologii i anatomii porównawczej.

W 1846 roku Huxley był już lekarzem. Z początku osiadł on w biednej dzielnicy miasta, by nieść pomoc ubogim, ale żądza wiedzy i ta ciekawość, która go pchała do badań anatomicznych, pomimo fizycznego wstrętu, jakiego doznawał przy dyssekcyach, zmieniły tryb życia wrażliwego i demokratycznie usposobionego Huxley'a. Właśnie wtedy młody lekarz poznał się z John Richardsonem, uczonym podróżnikiem, znanym ze swych podróży polarnych, którego wszyscy nazywali „Old John“. Pomimo pozornie okazywanej obojętności „stary John“ zajął się młodym Huxley'em, któremu wyrobił miejsce rządowe na okręcie R a t t l e s n a k e. Organizowano wówczas kilkoletnią podróż naukową i młody Huxley wkrótce na pokładzie Rattlesnake żegnał swój kraj rodzinny, do którego wrócił po czterech latach nieobecności z zapasem wiedzy i z rezultatem badań naukowych pierwszorzędnej wagi. W 1852 roku Huxley był wynagrodzony medalami i katedrą w szkole górniczej, którą w 1854 roku zamienił na katedrę fizyologii w uniwersytecie edymburgskim.

Dalsze dzieje Huxley'a można znaleść na stronnicach kronik uniwersyteckich i w dziejach rozwoju nauki współczesnej. Ramy naszego artykułu są za ciasne, by śledzić krok za krokiem związek, jaki zachodzi między życiem tego geniuszu a historyą myśli współczesnej Możemy tylko w krótkości zaznaczyć, że zarówno w zoologii jak i w anatomii porównawczej T. H. Huxley był pierwszorzędną siłą. Jego specyalne prace naukowe, rozrzucone po wszystkich niemal europejskiego znaczenia rocznikach i wydawnictwach akademickich zrewolucyonizowały naukę, wytknęły nowe drogi i dostarczyły wskazówek do pracy dla następnych pokoleń. Wrażenie tych prac było olbrzymie: wszystkie uniwersytety i ciała naukowe zjednoczonego królestwa ubiegały się o to, by w swych murach lub przynajmniej w swych księgach posiadać jeśli nie osobę, to choć nazwisko wielkiego uczonego. Uniwersytety zagraniczne osypały Huxley'a dyplomami honorowemi, godnościami zaszczytnemi i wyrazami najwyższego uznania. Niemal od 1852 aż do 1885 ciągnie się przeszło trzydziestoletnia droga pracy, usłana wieńcami i zaszczytami. Długich stronnic potrzeba, by tylko wyliczyć wszystkie tytuły prac oraz wyrazy uznania, jakie Huxley otrzymał za nie. Przechodzimy teraz do walki, którą Huxley stoczył w imię wyzwolenia myśli ludzkiej, do broni, której uczony użył jako żołnierz wiedzy i zarazem obywatel kraju.

W. Nadolski.

(Dokończenie nastąpi).



Prasa litewska.

Dla bardziej dokładnego określenia obecnego kierunku litewskiego ruchu narodowego musimy podać krótki zarys jego historyi.

Zaczął się on dopiero na początku 1883 r., kiedy wyszedł pierwszy numer pisma „Auszra“ — pierwszej gazety litewskiej, drukowanej literami łacińskiemi. „Auszra“ (Zorza) wychodziła w Prusach, lecz była przeznaczona dla Litwinów z pod caratu, gdyż na miejscu wskutek ukazu carskiego litewskie pisma i broszury wolno drukować tylko literami rosyjskiemi. W pruskiej Litwie i przedtem istniały już gazety litewskie, drukowane literami gotyckiemi, lecz były to pisemka bismarckowsko-konserwatywne, które wówczas jak i teraz nic wspólnego z ruchem narodowym nie miały, a służyły raczej do bałamucenia Litwinów. Z innym programem wystąpiła „Auszra“, wydawana wspólnemi siłami kilku patryotów. Postawiła ona otwarcie i stanowczo jako program obudzenie na Litwie ducha narodowego. Kierunek zatem „Auszry“ był czysto patryotyczny. Drukowano w niej życiorysy znakomitszych Litwinów, jak Dowkonto, Paszkiewicza i innych, a także i słynnych patryotów innych narodów. Umieszczono też sporą ilość wierszyków własnego utworu, w których tkliwie mówiło się o Litwie, o jej dawnej sławie i ubolewało się nad teraźniejszym upadkiem. Z obcych języków także tłomaczyło się wszystko, co było wierszem lub prozą pisane o Litwie. Znaleźli się wreszcie domorośli lingwiści i badacze starożytności, którzy, nie znając ani lingwistyki ani archeologii, na zasadzie tych nauk pisali i umieszczali w „Auszrze“ swoje lingwistyczno-archeologiczne odkrycia o sławnej przeszłości Litwy. Jeden wynalazł, że Troja była miastem litewskiem, inny twierdził, że Aztekowie meksykańscy był to naród litewski.

Programu ani politycznego ani społecznego nie było w „Auszrze“. Jako pismo patryotyczne mówiła ona tylko o potrzebie miłości ojczyzny —

---

się uczucie dawniejsze! To nie ją kochał wówczas, a jakąś bladą, mglistą postać... jakiś drgający lekko ton w własnej duszy — nic ponadto: nie zaś owo jasne, kochane stworzenie, co napełniało teraz jego serce tęsknotą gorącą i pragnieniem...

I oto wszystko to minęło bezpowrotnie!... Nic nie dało się już teraz zmienić, nic przeobrazić — wszystko stracone i po wszystkie czasy pogrzebane... Jakie to smutne!... Tęsknota, pozbawiwszy go zupełnie energii czynu — ubezwładniała jego wolę, przygniatała go wprost ku ziemi.

— Wszystko stracone, stracone na zawsze! — powtarzał z rozpaczą.

Tak żył przez pewien czas; — lecz powoli zaczęła postać jej blednąć w jego wyobraźni przybrała znowu nieokreślone owe kształty, tak dobrze mu znane, a i ból dawniejszy tak dotkliwy przedtem złagodniał, zamieniając się powoli w smutek rzewny, a czasami w żal... W każdym razie nie widział już jej tak wyraźnie przed swemi oczyma, a codzień więcej umacniało się w nim przekonanie, że wyrządziła mu krzywdę wielką, niepowetowaną! Nieraz występował w świadomości jego całkiem wyraźnie Nörgaard i wówczas cierpiał prawdziwie, a serce napełniało się goryczą...

Lecz i ten stan po niejakim czasie przeminął. Powrócił on teraz znowu do swych nawyknień starokawalerskich: — zawsze jednak bolesne uczucie, towarzyszące każdemu wspomnieniu, świadczyło wyraźnie, że rana niezupełnie jeszcze zagojona...

V.

Minął miesiąc. Pewnego dnia siedział on w restauracyi, gdzie zwyczajem swoim, codziennie przed obiadem kieliszek madeiry wypijał.

W obszernym lokalu, przedzielonym cienkiemi ścianami na liczne pokoje, panowała cisza zupełna. Nieliczni goście siedzieli spokojnie przy stolikach, czytaniem gazet zajęci; szmer tylko kart przewracanych i cichy szept usługujących przerywały ciszę. Zapach befsztyku smażonego napełniał powietrze.

Bergström siedział w kącie na kanapie, oparty o ścianę ze wzrokiem w przestrzeń zwróconym... Jak ciężko było mu wówczas, jak smutno, bezgranicznie smutno!.. W ostatnich dniach wszystko mu zbrzydło, znudziło się, był tak znużony! Z początku usiłował wmówić w siebie, że po pierwszych męczących tygodniach da się życie jego znowu przyjemnie urządzić. Śmiało i z otuchą zamierzał kroczyć dalej po drodze swego życia, pełnemi piersiami świeże powietrze po minionej burzy wdychając... Zapewne tak sobie wyobrażał!... lecz gdy teraz w przyszłość wzrok zapuszczał — zamiast owych dni jasnych widział pustkę niczem niezapełnioną. Czyż mógł jeszcze żywić nadzieję? Dla czego właściwie? nie wiedział. — lecz jeden tylko był powód: nie mógł pozbyć się wspomnień! Nic nie pomagało, usiłował o tem nie myśleć — lecz wspomnienia powracały zawsze z nieprzepartą mocą... Wszystko to niewyjaśnione, otaczające tajemnicą zerwanie Engelki — miało dlań pewien urok nieokreślony, drażniło go i męczyło zarazem. Kiedyż nareszcie powróci spokój dawniejszy? Nawet przeświadczenie o wyrządzonej mu krzywdzie nie sprawiało mu ulgi najmniejszej. W tych przedpołudniowych godzinach odczuwał brak Engelki najwięcej, gdyż te chwile przedtem do najprzyjemniejszych zaliczał... Strach zdejmował go na myśl o samotnych obiadach, — dzień w dzień, o tej rannej godzinie, tak przez życie całe!

Wychylił duszkiem kieliszek madeiry i przyniesiono mu drugi. — Na domiar złego stanę się jeszcze alkoholistą!... — pomyślał — dlaczegożby nie?

W tej chwili drzwi restauracyi otworzyły się prędko i głośno. Bergström pochylił się naprzód, chcąc zobaczyć nowo przybyłego, — głos był mu jakoś znajomy... Nagle porwał leżącą na stole gazetę, by się nią zasłonić i przy bufecie stanął dr. Pauli.

— Do licha! że też nie można uniknąć spotkania...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Litwy, o odrębności Litwinów, napadała na Moskali i Polaków jako byłych i obecnych wrogów narodu litewskiego.

Wyraźnie przejawił się w A. ruch antyklerykalny. Zaczęła ona walkę z klerykalizmem, bo litewskie duchowieństwo nieprzyjaznem okiem patrzało na budzący się na Litwie ruch demokratyczny, który groził zmniejszeniem jej wpływu na naród, a co najgorsze — zeszczupleniem jej materyalnego dobrobytu, gdy stary szlachecki porządek zapewniał jej panowanie na długie lata. Swiecka inteligencya litewska krytykowała duchowieństwo, chcąc poderwać jego znaczenie w narodzie, księża zaś wyklęli „Auszrę“ z ambon jako pismo ateistyczne i siejące materyalizm. Siły były za małe; „Auszra“ przestała wychodzić w 1886 r., przeżywszy 3 i pół lata.

„Auszra“ upadła, lecz ruch narodowy nie upadł. Szczupłe jeszcze wówczas kółko świeckiej inteligencyi litewskiej przekonało się o sile duchowieństwa, poznało, że ma ono wpływ zbyt wielki, aby można było otwarcie z niem do walki wystąpić. Zostało zatem postanowione złączyć się z klerykałami, aby przy ich pomocy ideę narodową prędzej do niższych warstw przenieść, tembardziej, że młoda generacya księży zaczęła potrochu sprzyjać ruchowi litewskiemu. Skutkiem tego zaczęła wychodzić „Szwiesa“ (Światło), w której obok artykułów klerykalnych świecka inteligencya umieszczała swoje artykuły. Ta sztuczna jedność trwała niedługo. „Szwiesa“ wkrótce upadła.

Wtenczas liczniejsze już koło inteligencyi litewskiej własnemi siłami założyło „Varpas“ (Dzwon) w 1889 r. W następnym roku (1890) to samo kółko zaczęło wydawać „Ukininkas“ (Gospodarz), pismo przeznaczone dla ludu wiejskiego, gdyż „Varpas“ był organem inteligencyi. Jedno i drugie wychodziło raz na miesiąc. Księża chłodno przyjęli te gazety i w r. 1890 ich stronnictwo założyło „Apżwałga“ (Przegląd), gazetkę czysto klerykalną. Te trzy gazety wychodzą w Tylży (w Prusach) i po dziś dzień i są organami dwóch partyi: „Apżwałga“ — klerykalnej a „Ukininkas“ i „Varpas“ — postępowej.

Wychodzą one w Prusach dla tego, że wskutek projektu Murawiewa — wieszatiela, zatwierdzonego przez cara Aleksandra II, litewskie gazety i książki wolno drukować tylko alfabetem rosyjskim. Dla przykładu zostały drukowane w Wilnie na koszt rządu i rozesłane do szkółek wiejskich książki do nabożeństwa i inne broszurki dla rozpowszechnienia ich wśród ludu; taką samą próbę jeszcze w zeszłym roku zrobili politycy warszawscy dla Litwinów gub. Suwalskiej, lecz Litwini nie przyjęli tego dobrodziejstwa a korzystają z przemycanych przez granicę książek i gazet, drukowanych łacińskiemi literami.

Zróbmy teraz krótką charakterystykę wyżej wspomnianych gazet litewskich. „Apżwałga“ wychodzi 2 razy miesięcznie, jako organ klerykalny zajmuje się przeważnie artykułami religijnemi, walczy z postępem i rozdmuchuje nietolerancyę religijną w narodzie, a przeto wywiera wpływ szkodliwy. Lecz ma ona i korzystną stronę, walcząc bowiem z rządem rosyjskim jako wrogiem katolicyzmu, budzi w narodzie duch niezadowolenia, który z czasem można będzie na coś dobrego zużytkować.

„Varpas“, organ partyi postępowej, wychodzi raz na miesiąc, jest organem patryotycznym. W takim kierunku wychodzi „Ukininkas“. Wychodzi on co 2 tygodnie, a oprócz tego co miesiąc jako dodatek wychodzi broszurka, zawierająca albo artykuł o gospodarce wiejskiej, albo powiastkę, przeważnie treści patryotycznej. Pod względem uczuć patryotycznych w tych gazetkach w porównaniu z „Auszrą“ daje się zauważyć pewien postęp, pewna dojrzałość poglądów. Nie ma już w nich czułych wierszyków na cześć „drogiej Litwy“, nie ma rozpaczliwych wspomnień o sławnej przeszłości Litwinów; przeciwnie, z pewną rozwagą zajmują się one przeważnie sprawami bieżącemi. W kwestyach politycznych zajmują się te pisma tylko krytyką rozporządzeń rządu rosyjskiego, tyczących się Litwy, i postępowania rozpanoszonych na Litwie urzędników carskich. Polemika z Polakami rzadko się trafia. Najczęściej napadają na mieszkających na Litwie spolszczonych burżuazów, którzy z zasady przeciwni są wszelkiemu ruchowi demokratycznemu, a więc i litewskiemu. Rozprawy w rodzaju tej, że Polacy zgubili Litwinów, trafiają się bardzo rzadko, czem się „Varpas“ korzystnie różni od „Auszry“. Innych bliżej określonych celów politycznych nie ma jeszcze w pismach litewskich, bo dotychczas Litwini nie wypracowali jeszcze żadnego określonego programu politycznego.

Co się tyczy poglądów społecznych, to i tu istnieje jeszcze najkompletniejszy chaos. Ogólny kierunek jest demokratyczny, lecz jak wszędzie tak i u nas ma on masę odcieni. W „Varpasie“ przeważa kierunek liberalno-burżuazyjny. Są przedstawiciele tego kierunku, którzy nie mając nadziei dostać się na wyższe posady i przez to powiększyć swoją pensyę, cichaczem marzą o tem, jakby to było dobrze, gdyby rząd nie był rosyjski, oni zaś służyli „dla dobra swoich braci Litwinów“; piszą więc artykuliki treści patryotycznej, a jako urzędnicy carscy boją się śmiałego wystąpienia przeciwko rządowi i są stronnikami kierunku umiarkowanie-liberalnego. Jest także kilkunastu prawdziwych demokratów, którzy nie wyrobiwszy sobie jeszcze żadnych określonych planów przyszłości, pracują tylko nad rozpowszechnieniem oświaty w ludzie. Jest także garstka skrajnych patryotów, którzy marzą tylko o tych czasach, kiedy na Litwie wszyscy będą mówić po litewsku. Inne poglądy uważają za niepatryotyczne, a więc naganne. Nareszcie spora ilość inteligencyi litewskiej z przekonania jest przychylną ruchowi socyalistycznemu, lecz nie widząc jeszcze na Litwie odpowiedniego gruntu dla przyjęcia tej idei, nie występowała otwarcie ze swojemi przekonaniami. „Varpas“ jest ogólnym organem całej postępowej inteligencyi litewskiej, nic więc dziwnego, że w nim znajdziesz artykuły najrozmaitszego kierunku i treści, że w nim sporo miejsca zajęło n. p. rozstrzygnięcie kwestyi o tem, jakie żony powinni brać patryoci, lub innych bez wybitniejszego znaczenia. Kółko z przekonaniami socyalistycznemi nie było zorganizowane do ostatnich czasów i nie występowało otwarcie ze swemi zasadami, a biorąc czynny udział w ruchu narodowym, zmniejszało szowinistyczne zapały zanadto gorliwych patryotów, oczekując czasu, kiedy będzie mogło otwarcie wystąpić ze swoim programem.

Na zakończenie dodam kilka słów o kierunku ruchu litewskiego w Ameryce. Amerykańscy Litwini dzielą się na dwa obozy: ogromna większość należy do obozu klerykalnego, znajdującego się pod dowództwem księży, a tylko garstka należy do obozu socyalistycznego. Są to tak zwani przez klerykałów „Szluptarniai“, po polsku słudzy Szlupasa, najbardziej czynnego i energicznego z pomiędzy Litwinów obozu socyalistycznego.

W każdem mieście, gdzie są Litwini, tworzą oni kółko, mające nazwę jakiegokolwiek świętego katolickiego. Kółek takich jest kilkadziesiąt. Wszystkie one łączą się w „Związek“ (susivienyjimas), mający za prezesa jednego z księży katolickich. Silny ten obóz ma 3 gazety: 1) tygodnik „Vienybe“, — organ Związku, 2) „Garsas“ i 3) „Valtis“ — gazetka ultraklerykalna. Z nich „Vienybe“ ma największe powodzenie, jest umiarkowanie klerykalne, ma pewien wpływ i na Litwinów na Litwie.

Kółko socyalistyczne wydaje tygodnik „Nauja Gadyne“ (Nowy czas), lecz tygodnik ten, czy wskutek braku współpracowników, czy środków materyalnych, nie może poszczycić się ani odpowiednią treścią, ani powagą. Chociaż wydawany jest w celu rozpowszechnienia zasad socyalistycznych, więcej walczy z wiarą katolicką, niż z obecnym ustrojem społecznym. Jakie on ma powodzenie w Ameryce, tego nie wiem, lecz na Litwie nie ma on żadnej wartości, bo pominąwszy inne braki, niezrozumiałe są dla włościan poważniejsze artykuły w rodzaju „Religii kapitału“ i inne podobne.

Prz.

KRONIKA LONDYNSKA.

dnia 6-go sierpnia.

(Poezye Artura Symonsa. — Nekrolog prof. Huxley'a.)

Z końcem sezonu i uśpieniem jego nieoczekiwanej bohaterki polityki, która po odbytych wyborach poszła w odstawkę, cisza ogarnęła Londyn i nic nie ma na horyzoncie, coby ściągało na siebie oczy wszystkich. Był jeden i drugi proces rozwodowy, były pozwy przed sąd za złamanie ślubnych przyrzeczeń, lecz z podobnemi historyami zżyliśmy się do tego stopnia, że nawet wróbla nie ocknął one z posezonowej drzymki. Trzeba przeto szukać pomiędzy drukami sensacyjnej strawy. Tem ożywiony pragnieniem podjąłem świeży tom poezyi Artura Symonsa p. t. „Londyńskie noce“. Tytuł obiecywał wiele, bo niektórzy powieściopisarze zapewniają nas, iż wschodnia dzielnica Londynu staje się pod osłoną nocy teatrem strasznych morderstw i rozbojów. Można było zatem przypuszczać, iż poeta sięgnął po materyał do tego państwa nędzy materyalnej i moralnej. Wprawdzie pewna krytyka, która mi wpadła w rękę, wyprowadziła mnie wnet z błędu, lecz zadąwszy w trąbę pożarną, tem więcej zachęciła do czytania strof, które miały być — „kwiatami złego“.

Artur Symons dał się poznać dwoma tomami poezyi, z których drugi p. t. „Sylwetki“ zjednał mu zasłużony rozgłos i miano „istotnego“ poety. Ślepy dopatrzyłby się w tych uroczych obrazkach duchowego pokrewieństwa i wpływu Pawła Verlaine'a, z którym łączą autora węzły przyjaźni. Młody poeta bowiem, bawiąc długi czas nad Sekwaną, przejął się duchem literatury francuzkiej i „Poèmes Saturniens“ żywo przemówiły do jego keltyckiego temperamentu. Urodzony w Kornwalii, hrabstwie przez szczep keltycki zamieszkałem, kładzie on na karb swego pochodzenia pewną różnicę, zachodzącą pomiędzy własnemi poglądami i skłonnościami a anglosaskiej sfery literackiej. „Londyńskie noce“ uwydatniają w większym jeszcze stopniu od „Sylwetek“ piękny jego talent liryczny: skończoną i misterną formę, śpiewność języka i egzotyczny czar. Lubo zapewne czas spotęguje akordy uczuć i nada im potężniejszy koloryt, poeta szczerze odsłania wnętrze swej duszy. Jako dekadent nie troszczy się on o zło i dobro, uważając, że jestto kwestya indywidualnego zapatrywania, uwarunkowanego temperamentem i kursującemi pojęciami. Te pojęcia zaś nie mają nań żadnego wpływu. Zamiast zatem ubierać się w formułki i teorye, śpiewać na dudkach filistrów, okłamywać siebie i innych, mówi poprostu, co czuje i jak czuje. „Dla ciała i duszy jak moja, pokarm aniołów jest za delikatnym“, mówi w wierszu "Liber amoris" i chociaż „wie, że kobieta nie ma duszy“ i „niezdolną jest kochać“ godzi się na to, bierze świat i ludzi jakimi są, pragnień skalę obniża, gubi w szale pocałunków. Nie pyta co znaczy wyraz cnota i grzech, bo przy boku Bianki znalazł „raj w jej piękności“. Innemi słowy idzie za głosem krwi, znając wartość szczegółów i chwili, która ucieka bezpowrotnie. Na tej lutni cywilizowanego epikurejczyka wygrywa subtelne, lekkie erotyczne melodye. Kilka sielankowych wierszy miesza się do tej wiązki. W nich daje on wyraz wrażeniom pochwyconym w Wenecyi, w ustroniach wiejskich i nadmorskich. W poezyach Verlaine'a wszystkie tony uczuć głębiej są zaczerpnięte i świadczą o gorętszem sercu, lecz zresztą Symons dorównuje zupełnie francuzkiemu dekadentowi. Uderza mianowicie rzadka trafność i ścisłość w rysowaniu konturów; w kilku słowach maluje wytwornie zarówno krajobrazy jak długie okresy życia. Wogóle wszakże szkoda, że świadomie obniża poziom swych myśli, w zbyt ciasnem je zamyka kole, że „życie jego jest jak musichall, na którego scenie „ogląda sam siebie tańczącego ku zabawie własnej i widzów“. Lecz z biegiem czasu odrzuci tę lutnię szansonetkową, gdy silne owładnie nim uczucie, i zamiast wonnych i śpiewnych poezyi szczyptą wewnętrznego niezadowolenia i ztąd płynącej melancholii zaprawionych, otrzymamy głębsze produkty wydelikatnionych nerwów angielskiego Verlaine'a.

W miesiącu lipcu pochowała Anglia jednego z swych najsławniejszych synów w osobie profesora Huxley'a, naturalisty i filozofa. Zmarły poświęcił się zrazu medycynie, lecz wkrótce porzucił je dla fizyologii i zoologii. Na podstawie materyałów zebranych w ciągu czteroletniej podróży morskiej, ogłosił dzieło o żyjątkach morskich, które nauka uznaje za jednę z najświetniejszych prac oceanograficznych. Powołany na profesora historyi naturalnej i paleontologii, oddał się zupełnie nauce. Od młodości zdradzał on skłonności do metafizyki i już pierwsze swe prace zabarwiał filozoficznemi poglądami. Słynna teorya Darwina o „naturalnym doborze“ i dzieło tegoż o „pochodzeniu gatunku“ wywarły stanowczy wpływ na młodego uczonego, który stanął w pierwszym szeregu pomiędzy szermierzami biologicznego prawa ewolucyi. Dzięki swym świetnym właściwościom pióra, Huxley zapewnił tej teoryi wszechświatowy rozgłos. Rozumowania jego dały pohop uczonym do poszukiwań pokrewnych punktów pomiędzy małpą a człowiekiem cywilizacyi. Co się tyczy różnicy zachodzącej pomiędzy zwojami mózgowymi i intelektem człowieka i małpy, utrzymuje Huxley, iż różnica ta nie jest tak wielką jak pomiędzy mózgiem osobnika cywilizowanego, a żyjącego w stanie dzikim. Zresztą ten sam organ jest siedliskiem myśli zarówno u ludzi jak zwierząt. Na okładce wiekopomnego jego dzieła p. t. „Stanowisko człowieka w naturze“, wykazuje uczony angielski analogię pomiędzy królem wszechstworzenia a zwierzętami za pomocą seryi szkieletów, począwszy od okazów kocich, orangutanów, szympansów i goryli, a skończywszy na człowieku. Na tym punkcie zahaczało się wielu uczonych, nie chcąc rasy ludzkiej wywodzić od tak niearystokratycznych antenatów, aczkolwiek wywody Darwina, Wallace'a i Huxley'a wyraźnie na to wskazywały. Niezbudowany małodusznością tychże wyraził się Huxley, że „logiczne konsekwencye są straszydłami na głupie szpaki a alarmem pożarnym dla mądrych“.

Rozumowania Huxley'a prowadzą nieodzownie do materyalizmu, lecz zmarły fizyolog cofał się od wrót jego, sądząc „że materyalizm tak jak on go pojmował, jest filozoficznym błędem“. Aby bowiem módz zdać sobie sprawę z istnienia materyi, trzeba mieć umysł, któryby tę materyą odmalował. Niemniej wzbraniał się przed przydomkiem ateisty, bo „problemat ostatecznego powodu wszechistnienia był zupełnie niepodobnym do zgłębienia dla jego nieudolnych władz umysłowych“. Odpowiadając sobie na te zagadnienia: nie wiem, — ochrzcił się mianem agnostyka. Naturalnie wywody jego napotykały na wielką opozycyą w różnych okazach i ztąd przychodziło do polemicznych utarczek. W starciach tych Huxley udowodnił ponownie swej ścisłości w myśleniu i znakomitej swady, której zazdrościł mu Darwin. Szczególnie niebezpiecznego oponenta miały w nim pozytywizm Comte'a i zakusy reformatorskie generała Booth'a, naczelnika Armii Zbawienia. Mimo, że nieubłaganą szczerością narażał się wielu koteryom, doszedł do najwyższych zaszczytów i cały świat naukowy zgodnie składał koło jego erudycyi, logice i filozoficznym zapatrywaniom. Zmarł też, licząc lat siedemdziesiąt, otoczony czcią i uznaniem swych ziomków, którzy głosu jego słuchali zawsze ciekawie, widząc w nim świetną gwiazdę świetnej ery królowej Wiktoryi.

Nobody.

KRONIKA GALICYJSKA.

Grzechynia pod Makowem 6 sierpnia.

(Związek chłopski. — Smutny koniec wesołego gimnazyum.)

Nie dla tego, że siedzę na wsi, ale dla tego, że ruch ludowy w Galicyi zwraca poważniejszą na siebie uwagę, po raz trzeci, jeżeli się nie mylę, udzielam mu miejsca w mojej kronice galicyjskiej.

Ruch ten objawia się obecnie nadzwyczaj silnie z powodu mających nastąpić we wrześniu wyborów do sejmu. Socyaliści ciągną lud w swoją stronę i urządzają dla niego, raczej dla siebie, rozliczne wiece — lwowskie Towarzystwo demokratyczne czyni toż samo, wreszcie sam lud niby, przy pomocy swego stowarzyszenia „Związek chłopski“ i czasopisma pod tymże tytułem wydawanego, występuje dość energicznie, nawołuje do jedności, urządza zgromadzenia, gotuje się do walki wyborczej. Ten właśnie Związek chłopski zajmie większą część mojej korespondencyi jako objaw nietyle cickawy, o ile mogący mieć dość groźne następstwa. Dziwna rzecz, iż nasi konserwatyści poniekąd mu sprzyjają, widząc w nim naturalną zaporę przeciw socyalizmowi i demokratyzmowi. Dla nich to dostateczne, że „Związek chłopski“ zerwał z ks. Stojałowskim, że wypiera się wszelkiej spójni z socyalizmem, że nie odzywa się za powszechnem głosowaniem, a kokietuje nieco z księżmi i ze szlachtą. „Gazeta Kościelna“ organ duchowieństwa, stawia pismo „Związek chłopski“ na czele pism ludowych, mówi, że się bierze do chłopów „przeciwnie“, że wydają go chłopi, patrzący na sprawy krajowe „spokojnie i trzeźwo“, że zasługuje on na poparcie wszystkich interesujących się ruchem ludowym. „Czas“ oświadcza (nr. 178), że reprezentantem interesów ludu jest „Związek“ powstały „naturalnym procesem“ i „mający prawo mówić w imieniu włościaństwa“.

Tymczasem kto rzeczywiście „spokojnie i trzeźwo“ patrzy na sprawy krajowe, ten przejrzawszy numera „Związku chłopskiego“, musi z obawą spoglądać na jego tendencye. Duch kastowości dochodzi w tem piśmie do potwornych rozmiarów. Chłop jest wszystkiem na świecie — reszta ludzi to darmozjady. „Związek“ wogóle dzieli ludzi na dwie kategorye: pracujących na chleb „bezpośrednio“ i „pośrednio“; pośrednio pracuje każdy, co nie jest chłopem, a w pierwszej linii inteligencya. Posłuchajmy dosłownie wywodu: „inteligencya“ jest to osobny stan (kasta), którego głównem utrzymaniem jest pensya... inteligentnik rości sobie prawo, aby żył kosztem społeczeństwa... Idzie mu o to, aby za pomocą pióra mieć chleb dla siebie i potomków swoich... Dzieci takiego inteligentnika niczem nie będą innem. tylko inteligentnikami“... Wszyscy dbający o dobro ogółu, o prędki wymiar sprawiedliwości, narzekają wiecznie na małą ilość sądów w Galicyi i na przeciążenie w nich urzędników, ztąd każdy minister sprawiedliwości wiecznie jest zasypywany prośbami ze wszystkich stron płynącemi o utworzenie nowych sądów i pomnożenie urzędników; wszyscy wołają, że Galicya pod tym względem jest po macoszemu traktowaną, — zarówno są tego zdania tak opozycyoniści jak i nasi rządowcy. Ale wszyscy się mylą — „Związek chłopski“ wie, że zakładanie nowych sądów to jest wyzysk ludu, prosty „interes kasty urzędniczej, która jest jak polip na ciele narodów“. Chłop pracuje, a taki inteligentnik to tylko pensyę za darmo bierze. Żeby to taki inteligentnik był jeszcze mądry! ale gdzietam! Dwadzieścia lat uczy się do jednego zawodu — a tu chłop przy gospodarstwie musi znać kilka zawodów, a dwudziestu lat nie potrzebuje się uczyć; „jakże więc niesłusznie ci wszyscy, co pracują w kancelaryach głową czy piórem zadzierają nosa do góry i pogardzają tymi, którzy ich żywią i utrzymują swą znojną pracą“. W parze z temi mądremi wywodami idzie narzekanie na oświatę, która jest „dzisiaj przyczyną złego“. Oto znów cytat dosłowny: „Dziatwa wysyłana do szkoły pozbawiona jest dozoru rodziców, przytem łączą się dzieci dobrego wychowania z temi, co są źle wychowane; (słowa, pod któremi w całości mógłby się podpisać... hrabia galicyjski) ztąd powstaje ogólne zepsucie, niemoralność, złe obyczaje... Dzieci wychodząc ze szkoly trudno się przyzwyczajają do pracy“. Nawet i dziennikarstwo jest solą w oku Związku chłopskiego: „za pomocą gazet wysłało piekło swoich zwolenników, swoich siewców, swoich nauczycieli i poprzedników antychrysta“.

Naturalnie redakcya „Związku chłopskiego“ od czasu do czasu miarkuje zapał swoich współpracowników i przyznaje, że „potrzeba wojska, żandarmeryi, różnych urzędów i sądów“, a nawet jest tak łaskawą i oświadcza, że „i urzędnik potrzebuje żyć“ i że „czy kto pracuje na chleb bezpośrednio czy pośrednio, to wszystko jedno“. Ale takie umiarkowanie wygląda tylko na „p o l i t y k ę“, na chęć niedrażnienia inteligentnych przyjaciół „Związku“. Chłop czytając jednocześnie takie i takie zdania i mając do wyboru pomiędzy niemi, z pewnością wybiera te, które łechcą jego próżność i zarozumiałość. „Polityką“ też są czułe apostrofy do duchowieństwa, jak n. p. „Wyście są światłością świata, na was wszystkich są oczy zwrócone“. Ale ta „światłość“ poddaną jest ostrej krytyce; musi ona ludu słuchać, wolno jej agitować podczas wyborów, ale tylko... za chłopami.

A w tych wyborach mieści się cały program stronnictwa. Uchwalono w Wiedniu nową procedurę cywilną, rzecz największej wagi, obchodzącą lud bezpośrednio — zastanawiano się nad reformą wyborczą, która przecież także lud bezpośrednio obchodzi, ale nie myślcie, ażeby takiemi drobiazgami zajmowało się stronnictwo chłopskie. „Róbcie sobie, co chcecie, woła „Związek chłopski“, a nam oddajcie naszą władzę.. Na razie tedy: na posła chłopa wybierać. To jest protest przeciw złemu dzisiejszemu, to jest wotum nieufności za to, co dotąd na naszą niekorzyść (?) uchwalały sejmy i parlamenty — więc chłopa wybierać! To jest najlepsze m e m e n t o do naprawy ustaw i do należytego wykonania ustaw... A więc chłopa wybierać, komitety pod tem hasłem zawiązywać, chłopa wybierać!“ W odezwie „do przewielebnych księży i panów nauczycieli“ Z w i ą z e k oświadcza wyraźnie, że lud życzy sobie, aby w tym roku wszystkich 74 mandatów poselskich z grupy gmin wiejskich dostały się chłopom“. A więc księża, jeżeli usiłujecie lud, który „choć rozgoryczony, jednak najwierniej świętego Kościoła katolickiego się trzyma“, popierajcie kandydatów chłopskich. I wy nauczyciele czyńcie to samo!

Nie będę się rozwodził nad głupotą związkową, lekceważącą wszelką pracę umysłową, nie mogącą zrozumieć, że owoce cywilizacyi i oświaty, podnoszące moralnie i materyalnie lud cały, są wynikiem pracy tych darmozjadów inteligentników, niemogącą, czy niechcącą pojąć, że lud tylko pracy „głów“ tych znienawidzonych inteligentników zawdzięcza to, że jest uznany za człowieka — nie będę też zastanawiał się nad tem, jakby wyglądał i coby mógł zrobić i przeprowadzić sejm, złożony w połowie z chłopskiego balastu — ale pozwalam sobie jeszcze raz zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo agitacyi „Związku chłopskiego“. Całe jej dążenie to cofnięcie się wstecz, to chęć zapanowania nierozumnego tłumu nad inteligencyą. Konserwatyzm, reakcya u góry mogą się nie podobać, ale konserwatyzm i reakcya u dołu to niebezpieczeństwo rzeczywiste. Nie ma wprawdzie obawy, aby „Związek chłopski“ przeprowadził swoich 74 kandydatów, ale zasiewane przez niego ziarno wzmaga olbrzymio kastowość, musi wywołać rozjątrzenie i walkę stanową. Ślepi, którzy widzą w tych objawach liberalizm i rozbudzenie się ludu, nie dostrzegają, że jest to objaw najwyższego sobkostwa. Tu nie idzie o interes ludu, ale o interes posiadających, bo chłopem bezrolnym lud gardzi, i dla tego też jest przeciwny powszechnemu głosowaniu. Proszę tylko porozmawiać z ludem, a kto chce, ten dowie się łatwo, jakie oburzenie wywołuje w nim myśl, że jego parobek lub chłop komornik miałby z nim równe prawa wyborcze.

Łudzą się więc ci konserwatyści, co kokietują ze „Związkiem chłopskim“, łudzą się i postępowcy podający mu rękę. Łudzą się i pod tym względem, jakoby Związek chłopski był dziełem samych chłopów. Kto czyta jego organ, ten już po stylu i wyrażeniach widzi w nim rękę nie chłopów lecz chłopomanów, którzy albo są ideologami, doktrynerami, albo tylko sprytnie zarozumiałość i ciemnotę chłopską wyzyskują.

Jeszcze jedna uwaga z własnego na rzecz patrzenia. Lud bezpośrednio na ziemi pracuje, a ziemia jest karmicielką, a więc lud ma prawo pomiatać wszelką pracą pośrednią“. Nie

idzie już o ten nonsens, ale same podstawy tego rozumowania w naszych galicyjskich stosunkach stają się coraz bardziej kruche. To co „Związek chłopski“ za lud uważa, ci, których nie jest organem, to jest chłopi właściciele małych posiadłości, coraz mniej „bezpośrednio“ na roli pracują. Rozwój przemysłu, brak robotnika i łatwość komunikacyi wytwarzają nowe warunki ich życia. Podczas lata co drugi prawie chłop zdrowy opuszcza rolę i wędruje dla zarobku w strony dalsze. W okolicy, w której się znajduje, idą chłopi gospodarze na zarobek nietylko do miast i przemysłowych miejscowości galicyjskich, ale do Prus, Królestwa Polskiego, a nawet do Pesztu. W wiosce, w której mieszkam, brakuje przynajmniej stukilkudziesięciu takich gospodarzy, a „bezpośrednio“ pracują na roli przeważnie baby, dziewki i młodzież. Tym więc „bezpośrednim“ pracownikom należałoby zdać w ręce losy kraju, a co najmniej . . . . . wybory.

Jeżeli jednak galicyjska wiejska płeć piękna zaczyna górować w bezpośredniej pracy na chleb, to inteligentne osobniki tej płci znowu rozstały się z nadzieją rozszerzenia zakresu swej pracy „pośredniej“. Pomostem w tym celu miało być dla nich gimnazyum żeńskie we Lwowie, którego otwarcie zapowiadano już na początek września. Tymczasem instytucya ta już zmarła, zanim się narodziła.

Raczą może sobie przypomnieć czytelnicy „Przeglądu“ jedną moją korespondencyę, w której dość otwarcie (lubo nie bez strachu), wypowiedziałem moje zapatrywanie na działalność społeczną kobiet naszego królestwa Galicyi i Lodomeryi z W. Ks. Krakowskiem. Byłem tak dalece niegrzeczny, że nazwałem ją blagą, zabawką, której firmę daje płeć żeńska, a koszta ponosi ród męzki. Była wtedy mowa i o żądzy kobiet do wiedzy, którą możnaby łatwo zaspokoić, gdyby nasze damy raczyły mniej szczelnie zamykać swoje portmonetki i kasy wertheimowskie. Wspomniałem o tem z powodu, że nieznana mi z imienia i nazwiska jakaś Lwowianka czy Podolanka ofiarowała się z gotowością złożenia 30,000 rubli na gimnazyum żeńskie we Lwowie. Podniosłem ten fakt jako wyjątkowy, a jako taki stwierdzający regułę. Gdyby nasze panie (pisałem mniej więcej w tych słowach) stosownie do swojej zamożności wspólnemi siłami zebrały fundusz dla zakładania gimnazyów żeńskich, nie potrzeba byłoby czekać na takie wyjątki.

Ale cóż, kiedy i ten wyjątek zawiódł, a sprawa fundacyi gimnazyum żeńskiego we Lwowie stała się pysznym tematem do napisania farsy. Jestem też przekonany, że znajdzie się jakiś farsista, który temat ten wyzyska. Gdyby taką farsę wcześniej był napisał, nasze szanowne galicyjskie emancypantki zarzuciłyby mu perfidyę, nieszlachetne szkalowanie płci pięknej, ośmieszanie szlachetnych dążeń i porywów. Ale dziś każda z nich miałaby usta zamknięte, co lubo, jak wiadomo, jest dla dam męczarnią nie do zniesienia, w tym wypadku przecież byłoby koniecznością nieuniknioną.

Bo proszę sobie przypomnieć przebieg sprawy. Panna X. ma owe 30,000 rubli złożyć na ręce dr. Piętaka, profesora uniwersytetu lwowskiego. Szanowny profesor zajmuje się gorąco tą sprawą. Zwołuje grono pedagogów i wraz z nimi pracuje nad wprowadzeniem w życie instytucyi. Cały program jest ułożony, wszystko jest obmyślane. Poczyniono już starania w Radzie szkolnej i w ministerstwie. Mimo niechęci i przeszkód sprawa naprzód postępuje. Poszukuje się już lokalu, układa się personał nauczycielski. Dziennikarstwo notuje najdrobniejsze szczegóły. Na zjeździe pedagogicznym, odbytym w Krakowie w początkach czerwca, przedkłada się w zarysach cały projekt, czemu towarzyszą długogrzmiące oklaski. Idzie już chyba tylko o to, aby ułożyć program uroczystego otwarcia gimnazyum. I w tej chwili, kiedy wszystko jest już przygotowane, dowiaduje się publiczność (nawiasem mówiąc nie z dzienników krajowych lecz z „Kraju“ petersburskiego), że szanowna fundatorka gimnazyum wyszła zamąż, a summa przeznaczona na zakład naukowy dla kobiet powiększyła jej sumę . . . . . posagową. Darujcie, łaskawe panie, ale wątpię, czy na taki „dowcip“ zdobyłby się który z waszych tyranów.

Fakt ten ilustruje znakomicie ofiarność naszych niewiast. Pomijam już to, że wspólnemi siłami mogłyby zdobyć się na założenie gimnazyum — ale przypuszczam, że bądź co bądź w samej Galicyi jest przynajmniej tysiąc takich kobiet, któreby mogły ofiarować kilkadziesiąt tysięcy na rzecz swych najszlachetniejszych dążeń. Zapewne, że z tego tysiąca większość tych dążeń nie uznaje, ale przypuśćmy, że jest pomiędzy niemi choć sto, dwieście takich, które założenie gimnazyum dla kobiet uważają za rzecz największego znaczenia. Uważają, mówią o tem, dowodzą tej potrzeby, ale ani jedna nie sięgnie ręką do kieszeni. Nareszcie jedna się znalazła, wciągnęła do sprawy ludzi poważnych i skompromitowała ich z lekkiem sercem przedkładając nad instytucyą naukową, świętą (co prawda) instytucyą małżeńską.

Nie będę się więcej nad tą rzeczą rozwodził, bo drży na mnie skóra. Proszę mi wierzyć (mogę zresztą na to postawić świadków), że kiedy przed paru miesiącami napisałem korespondencyą do „Przeglądu“ o naszych filantropkach i pracownicach społecznych, spotkał mnie taki grad pocisków ze strony dam pięknych i mniej pięknych, że tylko dzięki niezwykłej odporności mego ciała i ducha wyszedłem jako tako, przynajmniej bez wybitnego szwanku, z całej tej damskiej awantury. Nawet na miejscach publicznych otrzymywałem besztaniny od „aniołów“ naszych, a choć anioły są bezcielesne, widziałem najwyraźniej ich ściśnięte piąstki, żywo gestykulujące o parę cali zaledwie od mojego organu powonienia, oraz różowe paznokietki zbliżone do organów mojego wzroku. Nie chcąc się narazić po raz drugi na nową seryę podobnych objawów „zamiany myśli“, gotówem z góry odwołać to, co się dziś wymknęło z pod mojego pióra i uznać, że to, co napisałem o gimnazyum żeńskiem we Lwowie jest wierutną bajką, niegodnym wymysłem uprzywilejowanej kasty potworów męzkich.

Ale cóż z mojego odwołania, kiedy inne potwory zgodnie ze mną cały przebieg tej sprawy gimnazyalnej w annalach galicyjskich zapisały!

K. Bartoszewicz.

KRONIKA LITERACKA.

Na półkach księgarskich ukazał się czteroaktowy obraz dramatyczny p. t. *„Ambicye“*. Utwór ten wyszedł z pod pióra p. Walerego Łebińskiego, naczelnego redaktora „Wielkopolanina“. Poświęcimy mu niebawem obszerniejszą ocenę.

* * *

Nowa powieść Tolstoja. „Nowosti“ donoszą, że hr. Leon Tołstoj pisze nową powieść, której akcya odbywa się w sądzie okręgowym.

* * *

„Die Waffen nieder!“ miesięcznik, poświęcony ruchowi pokojowemu, wydawany przez bar. Bertę Suttner w Wiedniu, jako urzędowy organ międzyparlamentarnych konferencyi i międzynarodowego biura pokoju, zamieścił między innemi w zeszycie czerwcowym cykl sonetów Adama Asnyka „Z widowni świata“ w doskonałym przekładzie, dokonanym przez dr. Wład. Gumplowicza. Przekład zdradza bardzo wybitny oryginalny talent poetyczny w młodym pisarzu, który niedawno cały tomik poezyi Asnyka przyswoił już literaturze niemieckiej. Dr. Gumplowicz jest synem zaszczytnie znanego profesora nauk państwowych w Gracu. Przed kilku laty kształcił się na uniwersytecie lwowskim, wyróżniając się zdolnościami i charakterem. W ubiegłym roku, bawiąc na dalszych studyach w Berlinie, na jakiemś zgromadzeniu ludowem wyraził się trochę nieoględnie i zbyt otwarcie o dzisiejszych urządzeniach społeczno-państwowych, za co skazany został przez sądy miejscowe na dwa lata więzienia. Losem utalentowanego poety zainteresowała się żywo baronowa Suttnerowa.

* * *

Jedna z gazet amerykańskich ogłosiła konkurs na najlepszą powieść z życia tajnego agenta policyi. Ogółem nadesłano 3000 prac. Nagrody otrzymali wszakże nie zawodowi agenci policyjni, którzy wzięli nader liczny udział w konkursie, lecz panna Marya Wilkins i Brandes Mathews, obie znane powieściopisarki amerykańskie.

* * *

We Francyi przygotowują nowe wydanie zbiorowe dzieł Kartezyusza. Prace przygotowawcze w tym kierunku rozpoczęło już grono uczonych francuzkich, którzy poczynili starania, aby zebrać wszystko, co napisał wielki filozof, a między innemi i listy do różnych osób. Koszta wydawnictwa „Oeuvres complètes de Descartes“ wziął na siebie rząd.

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne** W Brukseli odbyła się przed tygodniem olbrzymia manifestacya przeciwko nowemu prawu szkolnemu. Z prowincyi przybyło 500 nadzwyczajnych pociągów, przywiózłszy 30,000 manifestantów z Heggenau, 20,000 z Antwerpii, 18,000 z Liège i 15,000 z Gentu. Procesya manifestantów przez ulice miasta trwała przeszło 4 godziny, poczem nastąpiło odsłonięcie olbrzymiej statuy Wolności, przyodzianej w krepę. Deputacye 450 stowarzyszeń niosły chorągwie i flagi z napisem: „Precz z klerykalnem prawem szkolnem“. Od 1830 r Belgia nie widziała podobnej manifestacyi. Sądzą, że król nie zatwierdzi prawa szkolnego. — Z Brüx (Gniewina opiewają ostatnie wiadomości: Urzędownie stwierdzono, że zapadło się ogółem 25 domów zupełnie. Mieszkało w nich 1012 osób. Do połowy zapadło się domów 18, w których 411 osób miało mieszkanie. Nadto na 39 budynkach pojawiły się groźne rysy, tak, że mieszkańcy, w liczbie 1039 osób, musieli mieszkania swe również opróżnić. Wogóle razem wysiedlono osób 2462. Ścisłe dochodzenie prowadzi urząd gminny wspólnie ze starostwem przy pomocy rzeczoznawców. — Według doniesienia berlińskiej „Vossische Ztg.“, okręty angielskie unikają kanału Północnego, utrzymując podobno, że skrócenie drogi z portów angielskich do Bałtyku nie jest tak znaczne, jak to przedstawiają dzienniki niemieckie, i że opłata od okrętów raczej podraża, aniżeli obniża koszta przejazdu kanałem. Wspomniany dziennik domyśla się, że żegluga angielska zorganizowała się potajemnie dla bojkotowania kanału i wywarcia nacisku, celem spowodowania obniżki kosztów, obliczanych za przejazd. W razie osiągnięcia tego celu Anglicy ofiarowaliby za bezcen w portach bałtyckich węgiel kamienny, który już dziś prawie żadnego frachtu nie opłaca, ponieważ okręty, wywożące z portów bałtyckich zboże, biorą węgiel jako balast, gdy po zboże wracają. Zrobiłoby to jeszcze niebezpieczniejszą konkurencyę węgla angielskiego dla kopalni niemieckich. Dzienniki niemieckie przemawiają tymczasem za wstrzymaniem się z obniżeniem kosztów przejazdu kanałem Północnym, licząc na to, że jeżeli żegluga angielska nie będzie korzystała z udogodnień kanału, to zyska na tem żegluga niemiecka, rozprzestrzeniając swą działalność kosztem żeglugi angielskiej. — W włoskiej izbie deputowanych zaszły podczas obrad nad etatem przykre sceny, ponieważ skrajna lewica z Imbrianim na czele domagała się redukcyi listy cywilnej króla włoskiego. Wśród burzy oklasków odpowiedział na żądanie to Crispi, że wobec znanej ofiarności monarchy podobne żądanie uważać można tylko za wręcz nikczemny, z niskich motywów wypływający manewr polityczny. — Pogłoski o ustąpieniu ks. Ferdynanda nie sprawdzają się. Książę wraca do Bułgaryi. Morderców Stambułowa jeszcze nie schwytano. — W Berlinie odebrał sobie życie w napadzie melancholii sekretarz ambasady tureckiej Sadullach bej, syn byłego posła tureckiego w Wiedniu, który również przed kilku laty odebrał sobie życie. — Od dnia 21 do 28 września obradować będzie w Dreznie kongres międzynarodowy stowarzyszenia literatów i artystów.

*** Teatr i muzyka.** Pani Helena Modrzejewska bawi chwilowo w Księstwie, skąd w połowie b. m. wyjeżdża z powrotem do Ameryki. — Piotr Mascagni skomponował nową operę jednoaktową p. t. „Il viandante“. Treść do opery tej zaczerpnięta została z obrazka dramatycznego p. t. „Przechodzień“ Fr. Coppe'go. — Wiedeński „król walców“, a twórca „Jabuki“, Jan Strauss, skomponował nową operetkę w 3 aktach p. t. „Waldmeister“. Operetka ta zainauguruje sezon zimowy w Wiedniu.

Zmarli:

*** Bronisława z Swinarskich Rabowowa** współpracowniczka „Gazety Gdańskiej“ i „Gazety Gru, dziądzkiej“, autorka kilku powiastek ludowych.

*** Henryk Sybel**, znany historyk niemiecki.

*** Fryderyk Engels**, teoretyk socyalistyczny, uczeń i przyjaciel Karola Marxa, w Londynie.

Odpowiedzi Redakcyi.

K. J. z N. Zachęcamy gorąco do dalszej pracy w tym kierunku. Jest bowiem w poezyach nadesłanych talent rzeczywisty, a ślady jego znać mianowicie w utworach „Wiatr“ i „Cisza przed burzą“. Miejscami tylko rażą usterki w rytmie nie dość konsekwentnym. Prosimy o dalsze próby i odsłonięcie anonimu.

Helena E..e. w Aussee. Dziękujemy serdecznie. Zamieścimy niebawem.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 33. Poznań, Niedziela 18. sierpnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„**Przegląd Poznański**“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Szlązacy w Poznaniu.

„Ośm wieków, jak od łona matki
„Szląsk nasz oderwano;
„Jak obcym na zdobycz dziatki
„Polskiej ziemi tej wydano,
„Ale póki głosu stanie,
„Szlązak wołać nie przestanie:
„Kochajmy się, trzymajmy się!

Tak śpiewał już przed dwudziestu laty zgasły przed niedawnym czasem poeta szląski, nieodżałowanej pamięci ks. Konstanty Damroth, znany więcej pod pseudonimem Czesława Lubińskiego. A słowa te nie są czczym frazesem! Mimo ośmiowiekowej rozłąki, mimo burz straszliwych, jakie przeszły ponad nieszczęśliwą tą, opuszczoną i zaniedbaną dzielnicą, lud szląski, o ile jeszcze ocalał przed zalewem germanizacyi, trzyma się wiernie narodowości swej i mowy, i kocha silnie świętą ojców spuściznę a wraz z nią Polskę całą, tę Polskę, która niestety tak mało dbała o „wydane obcym na zdobycz dziatki swoje“. Macierz sprzeniewierzyła się dziatwie, lecz dziatwa pozostała wierną macierzy i dziś coraz błagalniej wyciąga ramiona, coraz głośniej domaga się objęć matczynych.

W bezustannej walce o byt i niezależność polityczną Polska zapomniała o Szląsku. Ośmiowiekowa blizko rozłąka nie minęła bez śladu, — brat stał się obcym bratu. Korzystali z tego inni i w duszę ludu szląskiego sączyli kropelkę za kropelką jad nienawiści do najbliższych współplemieńców.

Bogu tylko wiadomo, ilu sposobami starano się powiększyć przedział, wytworzony przez nieszczęsny testament jednego z najdzielniejszych królów naszych i wynikłe z testamentu tego stosunki, jakiemi to fałszami karmiono w szkole i po za szkołą dziatwę szląską. Ale natura ma swoje prawa, których złość ludzka obalić nie jest w stanie. To też mimo wszelkich tych zakusów Szlązak pozostał czem był, pozostał Polakiem, i gdy nadeszła chwila przez opatrzność wybrana, — głośno się do polskości swej przyznał przed światem.

Zawiedzeni w swych nadziejach przeciwnicy nasi, nie mogą po dziś dzień uwierzyć, iżby przebudzenie się narodowe Szląska było wynikiem tych niezłomnych praw natury, i szukają przyczyny niespodziewanego dla nich objawu tam, gdzie jej niema, szukają bezustannie agitatorów i we wszystkiem dopatrują się impulsu zewnętrznego. Jakże łatwo atoli, gdyby nienawiść rasowa nie przyćmiewała im wzroku, mogliby się przekonać o mylności swych przypuszczeń. Właśnie Szląsk górny odrodził się narodowo bez wszelkiej zewnętrznej przyczyny, duch polski powstał tam z iskry niewygasłej, która tlała, na zewnątrz niewidzialna, na dnie duszy ludu, powstał że się tak wyrazimy, gdy nadeszła chwila stosowna, sam z siebie. Polska niestety i po dziś dzień bardzo, bardzo obojętnie zachowuje się względem tej dzielnicy, mało się interesuje ruchem polskim na Szląsku i niczem, ale też niczem nie przyczynia się do bujniejszego ruchu tego rozwoju. I gdyby nie Szlązacy sami, którzy gwałtem nam się przypominają, heroicznemi wysiłkami broniąc się przeciwko wynarodowieniu, mało kto by u nas wiedział, że tam u źródeł Odry między Beskidami i Sudetami żyje przeszło milion czysto polskiego ludu.

Dziś Poznań sposobi się na przyjęcie gromadki gości szląskich, którzy pragną zapoznać się z nami bliżej, odnowić dawne stosunki braterskie i podziwiać owoce ducha i pracy naszej. Nikt ich do tego nie namawiał, nikt ich nie zapraszał, sami poczuli się do obowiązku odwiedzenia braci, do wzmocnienia węzła, który już pękać zaczynał, do zaczerpnięcia w bratnim uścisku dłoni otuchy, wytrwałości i nadziei do dalszej walki o przyszłość. Nie obejdzie się bez tego, aby i w tym wypadku nie dopatrywano się intrygi i agitacyi wielkopolskiej. Ludzie, przywykli na wszystko zapatrywać się ze stanowiska siły materyalnej, nie umieją już zrozumieć i pojąć potęgi ducha. Naszym obowiązkiem, najświętszym obowiązkiem, jest mimo takich podejrzeń przyjąć braci otwartemi ramiony, szczerą serdecznością nagrodzić im krzywdę, wyrządzoną przez ojców naszych, przygarnąć, przytulić do siebie. Wszakże to dzieci wracają w dom matki, silni i zdrowi na duchu, których już jako umarłych opłakiwano. A i sami przytem pokrzepimy się widokiem niespożytej siły żywotnej szczepu naszego, żywotności, która najsilniejsze przetrwa burze....

Stosunki zbliżyły nas do siebie. Ci, którzy stali na uboczu zapomnieni w chwili największej naszej potęgi, przychodzą do nas dzisiaj, gdy i nas nieszczęścia dziejowe gniotą ciężkiem brzemieniem, przybywają nas pocieszyć w strapieniu, połączyć siły swoje z siłami naszemi do wspólnej obrony zagrożonego żnicza narodowego, przybywają pokrzepić nas braterską miłością. Łączą nas dziś równa niedola, wspólne smutki, wspólne cierpienia, niechże krzepi nas więc wspólna praca, wspólna nadzieja....

Witajcie nam Bracia, wy, którzy dawnym ojców obyczajem uprawiacie glebę ojczystą, wy, którzy z podziemi ciemnych wydobywacie obcym na korzyść skarby mineralne i wy, którzy ducha narodowego wskrzesiliście znów w miastach straconych! Bądźcie przekonani, że odczuwamy wraz z wami wszelkie bóle wasze, że wdzięczni za miłość waszą, nawzajem serdeczną miłością odpłacać się wam będziemy. Po raz to pierwszy przybywacie do nas po ośmiowiekowej rozłące w pokaźniejszej liczbie, lecz przekonacie się łatwo, że jesteście jak w własnym domu. Niechże dawna łączność odżyje na nowo, ażebyśmy liczebnie i na duchu wzmocnieni śmielej w przyszłość spoglądać mogli.

Witajcie nam Bracia!

MILESZEWY.

Nowy cios bolesny spadł na skołatane społeczeństwo nasze. Jak już z pism codziennych wiadomo, dziedzictwo jednego z najszlachetniejszych i najdzielniejszych szermierzy naszych w walce o byt narodowy, nabyte zostało przez komisyą kolonizacyjną....

Wieść ta wywołała w całym zaborze pruskim i po za jego granicami, gdzie tylko dotarła, najprzykrzejsze, wręcz przygnębiające wrażenie. Materyalna strata jest w tym wypadku mniejszą od wielu innych, jakieśmy w ten sam sposób ponieśli w ciągu ostatnich kilku lat; — Mileszewy, to wioska średniej wielkości, wartości stukilkudziesięciu tysięcy talarów. Ale była ona drogą społeczeństwu naszemu jako wypieszczone i ukochane dziedzictwo męża, który w księdze najnowszych a tak smutnych dziejów naszych złotemi głoskami wypisał swe imię, położywszy około dobra naszego materyalnego i moralnego niespożyte zasługi; — a okoliczności, w jakich sprzedaż ta się odbyła, odsłoniły nam wielki i zatrważający upadek moralności w pewnych kołach naszych. Sprzedaż Mileszew znalazła głośny oddźwięk we wszystkich organach prasy naszej i zrodziła już obszerną literaturę. Sprawę, którą sprawcy tej brzydkiej frymarki ziemią ojczystą, z początku zagmatwać i w wręcz fałszywem świetle przedstawić się starali, — dziś, właśnie dzięki energicznemu wystąpieniu prasy naszej codziennej wyjaśnioną została do tyla, iż bez obawy i wątpliwości jakiejkolwiek sąd o niej wydać można. Skreślimy tu główne jej rysy. Ś. p. Ignacy Łyskowski pozostawił sześć córek, panie Donimirską z Buchwałdu, profesorową Wicherkiewiczową z Poznania, Sikorską z Brus, Sikorską z Inowrocławia, Lossowową z Leśniewa i Skrzy-

dlewską z Rzegotek, które majątek ten po nim odziedziczyły. Egzekutorem testamentu był p. Paruszewski z Obudna. Przez kilka lat dzierżawił Mileszewy ś. p. Szafarkiewicz, a gdy tenże w roku bieżącym zmarł, postanowiono Mileszewy sprzedać i przystąpić do podziału spuścizny. Potrzeby naglącej do kroku takiego nie było. Wszystkie córki śp. Łyskowskiego żyją w dobrych stosunkach, w stosunkach, których nawet strata kilku tysięcy marek na szwank narazić by nie mogła. Jakie motywa popchnęły więc sukcesorów do tak fatalnego kroku, dotychczas nie wiadomo; zdaje się, że jedynie chęć pozbycia się kłopotu, jakim obarczała ich administracya majątku. Gdy zamiar ten stał się głośnym, zgłosiło się kilku kupców Polaków, którzy już to w całości lub na parcelacyą między włościan polskich Mileszewy nabyć pragnęli. Cena przez nich ofiarowana nie odpowiadała jednakże życzeniom dwóch zięciów śp. Łyskowskiego, którzy w imieniu sukcesorów zajęli się zrealizowaniem zamiaru sprzedaży. Zgłosił się wówczas p. Władysław Paruszewski, syn powyżej wymienionego egzekutora testamentu i ofiarował 340 tysięcy marek. — Tu sprawa zaczyna się wikłać i przybierać charakter nieczystej frymarki. Wiedziano bowiem, że p. Władysław Paruszewski żadnego nie posiada majątku, bo co posiadał, to stracił: łatwo też można było się przekonać, iż nosi się z ukrytemi jakiemiś zamiarami, ponieważ przystępując do pertraktacyi i ofiarowując od razu znacznie wyższą kwotę niż wszyscy inni konkurenci, — Mileszew ani nie obejrzał. Równocześnie nie mogło być tajnem, że porozumiewał się z niejakim Starkiem. Niemcem, który uchodził za agenta komisyi kolonizacyjnej. Wszystko to plenipotenci sukcesorów wiedzieć byli powinni, ale wiedzieć nie chcieli. Bez najmniejszego skrupułu sprzedali panowie ci Mileszewy panu Wład. Paruszewskiemu za wspomnianą powyżej cenę, a p. Paruszewski jeszcze tegoż dnia odprzedał je z zyskiem 30,000 marek panu Starkowi! Dla zakrycia siebie kazał sobie p. Wład. Paruszewski wystawić poświadczenie, że p. Stark kupił Mileszewy na „własny rachunek“, a więc zapewnienie bardzo elastyczne.

Oto nagi szkielet tej smutnej sprawy. Rzuca ona cienie swe na wszystkie interesowane w niej osoby, nawet na tych z pomiędzy sukcesorów, o których, jak np. o prof. Wicherkiewiczu, z góry przypuścić można, że przystał na sprzedaż tylko pod warunkiem, że Mileszewy oddane zostaną Polakowi: a przedewszystkiem na obu plenipotentów rodziny i na pana Paruszewskiego, który nie wahał się odegrać smutnej roli pośrednika w brzydkiej szacherce ziemią ojczystą celem podreperowania opłakanych swych stosunków osobistych. Zionie z każdego rysu tej bolesnej sprawy upadek ducha, zniеczulenie sumienia obywatelskiego u tych, którzy dotychczas w swem ręku dzierżyli przewodnictwo w publicznem życiu naszem, — i w tem właśnie spoczywa tragika bolesna. Cóż sądzić o społeczeństwie, którego członkowie podobnych dopuszczają się czynów? A już wręcz wstrętnym jest sposób, w jaki główni aktorowie dramatu tego przed opinią publiczną zakryć się starają. Jedni zastawiają się nieświadomością, — a p. Paruszewski owem elastycznem zapewnieniem p. Starka. Pan Paruszewski tę smutną posiada jeszcze odwagę, że grozi organom prasy, które w należyty sposób postępowanie jego napiętnowały, skargą o obrazę...!!!

Na szczęście pozostał jeszcze promyk nadziei, że niecna ta frymarka się rozbije. Nadzieja ta niestety nie opiera się na sumieniu i poczuciu obowiązku osób interesowanych, ale — li tylko na sądzie pruskim. Bolesna to ironia! Jedna z córek ś. p. Łyskowskiego umarła przed kilku laty (p. Skrzydlewska) i pozostawiła córeczkę, która po niej odziedziczyła prawo spadku, nad którem czuwa sąd opiekuńczy w Strzelnie. Sądowi doniesiono, że taksa sądowa Mileszew wynosi 404 tysiące marek, że przeto z wolnej ręki nie wolno ich sprzedawać taniej, bo wypadłaby ztąd krzywda dla sieroty. Więc na mocy tego sąd strzeliński odmówił podobno zatwierdzenia sprzedaży.

Jeśli atoli dzięki sądowi opiekuńczemu frymarka ta się rozbije, czyż znajdzie się kto, który Mieleszewy uratuje?

Jedynym pocieszającym objawem w tej sprawie jest głośne odezwanie się opinii publicznej, która bez wyjątku czyn ten potępiła jak najsurowiej. Nie znalazł się rzeczywiście nikt, któryby czyn aktorów dramatu mileszewskiego chociaż tylko złagodzić się starał. Czyż można ztąd wnioskować, że społeczeństwo nasze zerwało się z letargu, w którym spoczywać się zdawało, przygnębione straszliwemi wręcz doświadczeniami lat ostatnich? Oby tak było rzeczywiście, oby chromająca u nas od lat wielu opinia publiczna znów do dawnej wróciła czystości i siły, — inaczej przyszłość nasza przedstawiać się będzie tak czarno, tak ponuro, jak przedstawia się dziś nieszczęsna sprawa mileszewska!...

..ki.



Rzut oka na stosunki Szląska austryackiego.

Nie można zaprzeczyć, że opinia polska zajmuje się coraz żywiej sprawami Szląska austryackiego. Z zainteresowania się tego wypłynęła jedna wielka korzyść, mianowicie posunięcie naprzód sprawy gimnazyum polskiego w Cieszynie, na które ze składek, zbieranych we wszystkich dzielnicach wpłynęło 90,000 złr. Byłoby jednak karygodną jednostronnością sądzić, że przez samo ufundowanie gimnazyum sprawa polska na Szląsku austryackim stanie już na pewnym gruncie. Coraz częściej dają się słyszeć głosy, że cała praca narodowa w tej dzielnicy domaga się radykalnej zmiany kierunku. Coraz częściej spotykamy się z surową krytyką postępowania tamtejszych działaczów polskich.

Obecnie mamy w ręku sporą broszurę, wydaną we Lwowie*), której autor, występujący pod pseudonimem „Warszawiaka“, poddaje stosunki szląskie bystremu bardzo rozbiorowi i wskazuje przyczyny anormalnego stanu rzeczy. Autor, gruntowny znawca stosunków tamtejszych, wprowadza nas w samą treść życia szląskiego i daje obraz, jakiegośmy dotąd nie mieli. Dlatego uważamy, że pożyteczną będzie rzeczą, gdy podamy czytelnikom naszym główne myśli tej pracy, odsyłając do samej książki wszystkich tych, co się stosunkami szląskiemi bliżej interesują.

Samo zestawienie Szląska pruskiego z austryackim świadczy, że w życiu ostatniego tkwi jakieś zło specyficzne, tamujące rozwój polskości. Tu milion z górą ludności polskiej żyje w państwie, w którem żywioł polski nie ma prawie żadnego na sprawy wpływu — a jednak Górnoszlązacy radzą sobie sami, nie uciekają się do poparcia innych dzielnic, walczą z niemczyzną, rozwijają życie polskie, łączą się w liczne stowarzyszenia i t. d.; górnoszląski „Katolik“ ma przeszło 19 tysięcy prenumeratorów, a „Nowiny Raciborskie“ i „Gazeta Opolska“ po 3 do 4 tysięcy; przy wyborach, mimo nacisku, szerzonego nawet z ambon, lud wybiera swych kandydatów i wytrwale dobija się o swoje prawa. Natomiast na Szląsku austryackim, wchodzącym

*) „Ze spraw szląskich“, napisał Warszawiak. Odbitka z „Gazety Nardowej“. Lwów, 1895.

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

WANDA (*szorstko, ze wzgardą*).
Depcę powodzenie.

FIGURA.
Mąż pani uprzystępnia dzikość i niezrozumiałość jej kompozycyi: inaczej nie znalazłyby uznania u publiczności....

WANDA.
Powiadam panu, że mi o nic nie chodzi. Przeciwnie, brak uznania u takiej publiczności jest dowodem wartości mych dzieł i zaszczytem dla mnie.

KAZIMIERZ.
Zaszczytem?... ależ sława...

WANDA.
Zaszczytnym jest każden dowód braku wspólności cech moralnych z publicznością: — nie jestem rozumianą, więc jestem różną, więc jestem coś warta.

FIGURA.
Przepraszam. Noskowski....

WANDA.
Bondarzewska... czy mi ich pan stawiasz za wzór?

FIGURA.
Paderewski jest znany, rozumiany, uwielbiany.

WANDA.
Przez zagraniczną suggestyę.

FIGURA.
Porównaj pani swe utwory z jego utworami, a zobaczysz, czy są podobne.

WANDA (*między zębami*).
Głupiec! (*do Figury*) Lubisz pan bażanty?

FIGURA.
Co za skok w rozmowie! Pasyami.

WANDA.
To należy do poprzedniego tematu, a lubisz pan wino szampańskie?

FIGURA.
Pyszne!

WANDA.
A co pan wolisz, bażanty czy szampan?

FIGURA.
Czyż to można porównać! Bażanty swoją, szampan swoją drogą! Bażanta można porównać z inną tylko zwierzyną, a szampan z innem winem.

WANDA.
Paderewskiego porównać można z podobnymi do Paderewskiego, a Wandę Morską z podobnymi do niej.

FIGURA (*wybucha jowialnym śmiechem*).
I pani artystka zdobyłaś się na tak materyalistyczne porównania.

WANDA.
Pan często siadujesz w restauracyach, starałam się być przystępną w elementarnym wykładzie logiki.

FIGURA (*urażona*).
Możesz pani ostrzyć swe białe ząbki na mnie i publiczność, lecz niemniej dla niej pracujesz.

WANDA.
Nigdy!

FIGURA.
Więc dla kogoż tworzysz? Dla fal morskich? Nie zapłaczą jak w legendzie.

WANDA.
Tworzę, bo muszę. To dostateczny argument.

FIGURA (*tryumfująco*).
Bardzo pięknie; lecz potrzeba tworzenia zaspakaja się samym aktem tworzenia; nie potrzeba jej ogłaszania dzieł, ani koncertów.

WANDA.
Koncerty nie ja daję; a co do ogłaszania drukiem moich dzieł, to wykazujesz pan grubą nieznajomość praw natury twórczej: wiedz, że jeżeli zdołasz zrozumieć, że jest ona przedewszystkiem, w najwyższym stopniu natu-

w skład państwa, które w podstawach swoich położyło równouprawnienie narodowe, w którem Polacy mają tak wielkie wpływy, sprawa polska znajduje się w stanie wprost rozpaczliwym, trzeba się uciekać do pomocy rodaków innych dzielnic, robi się dobrowolne ustępstwa germanizmowi i t. d. Przyczyna tego leży przedewszystkiem w „bezrobociu" cieszyńskich przewodników narodowych. Rzecz się więc sprowadza do tego, o czem już poprzednio słyszeliśmy, mianowicie, że ludzie, którzy uchwycili ster instytucyi narodowych szląskich w swoje ręce, nie pełnią swych obowiązków i zawodzą zaufanie ogółu. Druga przyczyna jest szerszej, ogólniejszej natury. Szląsk pruski i austryacki, owa „Stara Polska", jak do dziś gdzieniegdzie lud szląski tę swoją dzielnicę nazywa, nie ma prawie wcale innej warstwy ludności prócz zwartej masy ludu, pracującego na roli i w fabrykach. Wszelka zatem akcya narodowa musi z konieczności mieć charakter ludowy, pod grozą zupełnej jałowości. I jeżeli z tego punktu rozważać będziemy postępy samorodnego ruchu narodowego na Szląsku górnym i porównamy ostatni pod tym względem ze Szląskiem austryackim, to przyjdziemy do konkluzyi następującej. Na Szląsku górnym ruch narodowy, prowadzony pod moralnem przewodnictwem kierowników pism ludowych, idących solidarnie we wszystkich sprawach, czyni zdumiewające postępy i zacząwszy się w Bytomiu, dziś objął już Opole i Racibórz i dociera prawie pod mury Wrocławia. To rezultat wybitnie ludowego charakteru całego życia narodowego w tej dzielnicy naszej. Wszystko, począwszy od pism, a kończąc na towarzystwach, banku, czytelniach i t. p. ma tę cechę na wskroś ludową i dla tego sprawie narodowej tak dzielnie służy, bo masa ludu polskiego jest tam narodem, ona jest tam Polską! Tej cechy wybitnie, wyłącznie ludowej nie posiada działalność przewodników narodowych na Szląsku austryackim (po śmierci Stalmacha) i dla tego ruch narodowy idzie tam tak ospale.

Na Szląsku austryackim wiele dziś możnaby robić, czego się zaniedbuje i to robić bez żadnych zapomóg, bez pieniędzy. Skoro język polski „urzędowo" uznany jest jako „drugi język krajowy", więc możnaby wnosić podania w języku polskim, żądać sporządzania protokółów w tymże języku, wezwania i pokwitowania odbiorów powinny być polskie, akta notaryuszów mogłyby i powinny być pisane dla Polaków po polsku. Mamy przecież na Szląsku adwokatów, notaryuszów, sędziów nawet Polaków, ale nie przestrzegają oni tej kardynalnej zasady poszanowania rodowitego języka.

Wskutek tejże samej obojętności język polski nie znajduje należytego uwzględnienia w szkolnictwie. Chociaż ustawa wymaga, aby język wykładowy był w szkole zastosowany do języka większości dziatwy szkolnej, znajdujemy tysiące gmin wiejskich i miejskich, w których szkoły powinny być polskie, gdzie jednak ani jednej takiej szkoły nie ma. Nawet religii uczą katecheci przez powolność i wbrew ustawom kościelnym w wyższych klasach szkół ludowych po niemiecku. Ustawa wymaga, aby w gminie, gdzie jest 40 dzieci pewnej narodowości, postarano się dla nich o szkołę ludową w ich narodowym języku. W Cieszynie jest 7000 i więcej ludności polskiej, a dotychczas nie ma ani jednej polskiej szkoły, bo nikt o to upominać się nie chce.

W tym samym Cieszynie, który ma połowę ludności polskiej, w radzie miejskiej nie ma żadnego Polaka-narodowca (są Szlązacy, ale tacy, co dobrowolnie we wszystkiem Niemcom ulegają), a językiem urzędowym rady i magistratu jest język niemiecki. Tak samo dzieje się i w innych miastach (we Frysztacie, Boguminie, Skoczowie, Jabłonkowie i t. d.), gdzie — wyjąwszy Bielsko, Polacy stanowią nawet decydującą większość, i nikt się nie stara o zmianę tego stanu rzeczy. Nie lepiej jest w gminach wiejskich, gdzie Niemców często wcale nie ma. I tu językiem urzędowym jest niemczyzna, a nikt przeciw temu nie woła.

Wobec takiego biernego zachowania się względem praw językowych, nie dziw, iż żaden poseł sejmowy nie przemawia po polsku, choć mają do tego prawo. „Tłomaczą się tem, że chcą, aby ich rozumiano! Ale to czcza wymówka, gdzie idzie o zatwierdzenie praw narodowych i ich zdobywanie".

Przy tak słabej odporności a właściwie przy zupełnym jej braku, czyż dziwna, że niemczyzna wciska się coraz natarczywiej do życia towarzyskiego, do urzędowych czynności wszystkich władz autonomicznych, ba! nawet do komitetów parafialnych, do metryk kościelnych! Co więcej, organiści zaczynają w kościołach wprowadzać śpiewy nabożne niemieckie, a księża odbierają przysięgę małżeńską w języku niemieckim.

Zaniedbanie korzystania z istniejących praw na rzecz polskości idzie w parze z oddaleniem się istniejących instytucyi narodowych od ludu.

Obecnie „w księstwie Cieszyńskiem nie ma prawdziwie ludowego towarzystwa, któreby do boju za sprawę narodową prowadziło tych 177 tysięcy Polaków przeciw 47 tysiącom niemieckich „współobywateli". A co ten lud może, to się okazało, gdy ks. mons. Świeży założył „Związek szląskich katolików". Zaraz przy pierwszej potyczce z wrogiem, t. j. przy ostatnich wyborach zdobyto trzy mandaty polskie.

Przy braku prawdziwego towarzystwa ludowego, nie ma również żadnych stowarzyszeń mieszczańskich, rękodzielniczych, ani dla starszych, ani dla młodzieży. Stąd mieszczaństwo pozostaje pod wpływem niemczyzny i powiększa stale zastępy renegatów. Pomimo to, że połowa niemal ludności Szląska — to robotnicy zakładów przemysłowych, nie ma tam ani jednego polskiego stwarzyszenia robotniczego.

Nie można powiedzieć, żeby praca śród ludu leżała zupełnie odłogiem, owszem, są pewne w tym kierunku usiłowania. Przedewszystkiem należy wymienić czytelnie. Istnieją one oddawna w Skoczowie i Jabłonkowie, a w ostatnich latach założono je we Frysztaku, Łazach, Michałkowcach i Karwinie. Dalej jest kilkanaście kółek rolniczych (niektóre z nich dodają w nazwie: „polsko-katolickie"). Wszystko to tworzy do trzydziestu małych ognisk, w których „jest rozdmuchiwany znicz narodowy", wszędzie jednak pracują „szeregowcy" w walce o sprawę narodową, a brak należytego kierownictwa i szerszego planu.

Najpożyteczniejszą czynność rozwinął był z początku „Związek szląskich katolików", który liczbą członków prześcignął wszystkie tutejsze towarzystwa. Ostatnio ruchliwość i, co za tem idzie, wpływ „Związku" znacznie się zmniejszyły,

Robi się też jeszcze w „Towarzystwie rolniczem szląskiem", które przeszłego roku obchodziło swój 25-letni jubileusz istnienia wystawą. Do towarzystwa tego należą i ton mu nadają wielcy gospodarze, t. zw. „siedlacy", mający po 60, 80, 100 i więcej mórg ziemi, przeważnie ewangelicy.

Trzeba przyznać, że ruch narodowy na Szląsku austryackim ma do zwalczenia poważne przeszkody.

Obok walki z niemczyzną trzeba współzawodniczyć nadto z żywiołem czeskim, który dzięki swej ruchliwości zdobył tu sobie szerokie prawa i dąży do kulturalnego opanowania okolic polskich. Należy jednak zrobić uwagę, że niebezpieczeństwo, które z tej strony grozi, jest nagół nieco przesadzane.

Ogromnie utrudnia pracę narodową niejednolitość wyznaniowa ludności polskiej. Blisko trzecia część jej jest wyznania luterańskiego, co utrudnia wyrobienie jedności, potrzebnej w walce narodowej. Zmarły przed kilku laty Piotr Stalmach, najdzielniejszy na Szląsku polski patryota, będąc ewangelikiem, umiał stanąć na gruncie wyłącznie narodowym i z tego stanowiska godzić różnice wyznaniowe. Następcy jego jednak nie umieli utrzymać się na

---

czynną, zmuszoną objawiać się i działać na zewnątrz w jak najszerszym zakresie. Tworzę, to znaczy: pragnę za pomocą tej energii, która jest we mnie, ujawnić materyał swej własnej duszy; wysadzić go z siebie i dać mu samoistne życie, życie nieodosobnione, lecz przeciwnie, wiążące się z ogółem, wnoszące do niego swój indywidualny pierwiastek; pragnę, mocą tego, co jest we mnie, co się nagromadziło i rozwinęło we mnie pod wpływem bodźców zewnętrznych, oddziaływać na świat i stać się dalszym odrębnym impulsem do nowego, wyższego życia.

FIGURA (*tryumfująco*).

Więc dla kogoż pani tworzy?

WANDA (*gorąco*).

Tak, dla ludzi! kiedy innej nazwy niema! Dla ludzi, z których moje uczucie wspólności człowieczej abstrahuje wszystkich, niegodnych tego miana.... Tworzę, lecz nie dla tych, którzy przychodzą do sali koncertowej, by módz powiedzieć, że byli, dla których koncert jest konwencyonalną rozrywką, zapełnieniem wieczora, gdy balu nie mają, miejscem trawienia obiadów, łapania posagów lub flirtu; nie dla tych, którzy kupują moje kompozycye, by leżały na fortepianie jako nowość, lub słuchają ich, bo ich znajomość jest obowiązująca w salonach. Dla tych tworzę, którzy muzykę odczuwają aż do szpiku kości! którzy drgają pod ich wpływem, dla których jest podnietą, rozkoszą, żywą cząstką ich życia; którzy mnie odczuwają lub których zdolnam obudzić i zmusić do czucia ze mną! Dla nich tworzę, do nich należę!

FIGURA.

Nawet ci odczuwaliby panią lepiej, gdybyś się zniżyła do nich i zrobiła ustępstwa ich gustom.

WANDA (*szyderczo*).

Ha, ha! wzniosłe zadanie parweniuszów łatwej sławy! Czyż pan nie wiesz, że krzywdzi się ludzi, zniżając się do nich? Że ten, który stoi od nich wyżej, ma obowiązek niepodlenia siebie, lecz uszlachetnienia ich? A podleniem się jest każden dobrowolny wysiłek w kierunku stania się czemś mniejszem i niższem, niż się jest i być może! Czy nie wiesz, że rozwój jest prawem etyki społecznej jak biologii? Czy nie wiesz, że niwelacya jest społeczną zbrodnią i że ci, który wyrastają nad tłum, nie po to przewyższają go o głowę, by im głowę ucięto na uciechę gawiedzi, lecz po to, by ten tłum, wznosząc wyżej oczy, rozwijał się tem samem. Ale zkądbyś pan o tem wiedział! To, co mówię, to maligna! pochlebna recenzya, oklaski — oto treść i prawda! (*gwałtowniej*) Co za dzikie żądanie, ustępstwo tłumom! My jesteśmy od tego, by ich oświecać i oświadamiać! Naszem przeznaczeniem jest wykształcenie ich barbarzyńskich dusz i umysłów! nie oni są nam wzorem, my im wskazujemy ideały! My, stojący wyżej od nich i ogarniający widnokręgi na długo dla nich niedostępne! Więc mamy kurczyć się i zginać we dwoje, by zmieścić się w brudnym kotle powszedniego niechlujstwa i cuchnącej pospolitości, my, którzyśmy nad nie wyrośli i przestrzeni, czystego powietrza potrzebujemy dla swych rozwiniętych płuc, dla swych ruchliwych członków? Więc mam wplatać banalne zwroty w duszę duszy mojej, by mnie oklaskano? Precz ze sławą, jeżeli się ją zyskuje tolerancyą, pochlebstwem, poddaniem się pospolitości! Precz z powodzeniem, jeżeli ją warunkuje wspólność cech z grubą, nieokrzesaną duszą większości! Nie zrobię ani jednego ustępstwa ze swego indywidualizmu na rzecz mieszczańskich upodobań publiczności! Mnie chodzi o wartość dzieła i wpływu, nie o brawa! (*ucisza się nagle, szeptem do męża*) Zapomniałam, że mówię do bydlęcia z trzody.

FIGURA (*dobrotliwie*).

Szumi, szumi w młodej głowie. Chciałem dać pani radę.... Dla czego nie występujesz sama z koncertami?... Masz pani ładną buzię (przebacz staremu) dla niej wybaczono by ci wiele....

WANDA (*surowo*).

Co mi mają wybaczać? Pan widocznie nie miałeś do czynienia z ludźmi mego rodzaju, dla tego ja wybaczam ci obelgę.

FIGURA.

Alež pani szanowna... przyjąć trzeba życie, jakiem jest.

tej wysokości. Stąd sprawą wzajemnego stosunku dwóch wyznań śród ludności miejscowej pozostaje nieregulowaną, czego wina głównie spada na ewangelików.

Jednym z czynników, wywierających najfatalniejszy wpływ na całe życie Szląska austryackiego, są jego stosunki agrarne.

Z 40 mil kwadr., stanowiących obszar Szląska austryackiego, 13 należy do arcyksięcia Albrechta, około 7 zaś do marszałka szląskiego, Mönnich-Larischa. Połowa zatem Szląska jest w rękach dwu posiadaczy. Ten fakt ma nietylko znaczenie socyalne, ale i wywiera ogromny wpływ na sprawę narodową.

Dwu tych właścicieli połowy Szląska zastępują tu, naturalnie, ich oficyaliści. Zarząd dóbr arcyksięcia czyli t. zw. „arcyksiążęca kamera“, to ogromna czereda „kulturträgerów“, która się czuje w pierwszym rzędzie powołaną do tego, aby, jak tu Szlązacy już powszechnie mówią, falą „bildungu“ zalać tę piastowską dzielnicę, a kulturę niemiecką pchać „nach Osten“ i uwiecznić tu „den deutschen Besitzstand“!

„Pod względem tedy narodowym jest to „główny sztab“ wrogiego polskości obozu, który potęgą swego moralnego i materyalnego wpływu ciąży jak straszna zmora nad całym tutejszym narodowym ruchem i życiem... Generalna dyrekcya tej kamery rozsiadła się w prastarym piastowskim zamku, a tuż obok tak starożytnej wieżycy, która pamięta dawnych polskich rycerzy, założono nieodzowny niemieckiego „bildungu“ warunek czy owoc, browar piwny.

Aby poznać, jaki ta „kamera“ wpływ posiada i jakiej potęgi jest władczynią, dość przyjrzeć się ruchowi, jaki się tu koło zamku odbywa. Ot często zobaczysz odświętnie ubranego księdza, który spieszy przedstawić się generalnemu dyrektorowi, bo kamera rozdaje tu probostwa, a właśnie jakieś probostwo wakuje. Duchowni „awansują“ tu z probostw gorszych na lepsze, tak samo jak urzędnicy. W zależności od „arcyksiążęcej kamery“ zostają wszyscy w ogóle, od policyanta aż do naczelników rozmaitych władz i urzędów państwowych czy autonomicznych.

A konary tego olbrzymiego dębu, którego korzenie głęboko są zapuszczone na wzgórzu zamkowem, sięgają na wszystkie strony, jak Szląsk szeroki i długi, i wszędzie obowiązki moralne, społeczne i narodowe, z własności płynące, nietylko nie są wypełniane, ale raczej wszystko się tak dzieje, aby polski charakter Szląska uległ radykalnemu przeobrażeniu.

Z.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Dawno już żaden wypadek nie wstrząsnął tak do głębi społeczeństwem naszem, jak sprzedaż Mileszew, dziedzictwa ś. p. Ignacego Łyskowskiego. Ale właśnie to oburzenie jest najlepszym dowodem przebudzenia się sumienia narodowego i zdrowego zwrotu w opinii publicznej. Podobnie też wyraża się toruński korespondent „Dziennika Pozn.“ Pisze on co następuje:

„Czyż to nie pocieszające, że szerokie już warstwy w narodzie pytają, troszczą się i dbają o to, co się z każdym kawałkiem ziemi naszej dzieje, gdzie ona się kurczy i odkrusza, a gdzie rośnie i dużeje? Wszakże cały naród pracował krwawo i spotniało na jej wzrost i kulturę, od najazdu jej bronił, a z dziczyzny brał pod pług i motykę na wspólne bogactwo narodowe. Wszakże mieniem i wolnością, zdrowiem i krwią zapewniał jej spokój, aby dorobek i dziedzictwo rosły w ręku synów narodu, których obyczaj narodowy ku temu nawet przywilejami uposażał z obowiązkiem silnego dzierżenia a wiernego i rozsądnego szafarstwa.

„W pierwszej ćwierci bieżącego wieku zaśpiewał o ludzie polskim piewca narodowy:

Z dziećmi on głodnemi
Te ziarneczka zgania,
Które pan po ziemi
Za cacka roztrwania.

„To zaśpiewał nie chłop, nie mieszczanin, ale szlachcic, bo Kaźmierz Brodziński, a przeczuwał już wtedy duchem wieszcza, że przyjdzie czas, w którym oglądywać się poczną za temi ziarneczkami ci, którzy je do kupy zganiali liczne a długie wieki. I pytać się będą, na co je roztrwoniono i wołać, że tego dosyć, bo złe wszystkich a więc i ich pobije.

„Nie lekceważyć więc objawów opinii publicznej, owszem liczyć się z nią, bo tkwi w niej zawsze to, co się już wyrobiło i czemś rzeczywistem stało w społeczeństwie. To też i w danym tu razie co do Mileszew stanąć przed tą opinią z prawdą nagą — fałsz sprostować zawczasu, prawdę przyznać, choćby grzech nawet zawierała, aby koić i jednać, zamiast ranić i rozdwajać.

„Nie należy gardzić nowemi, ani od pracy wspólnej sił tych odpychać, ale też nie dopuścić zubożenia narodu pomijaniem lub upośledzaniem wyrobionych wiekami pracowników.“

„Gazeta Gdańska“ pisze:

„Zaiste smutno, bardzo smutno, gdy się widzi ciągły ubytek tej ziemi polskiej, skropionej krwią i potem przodków naszych. Maluczko, a z czysto polskiego powiatu brodnickiego stanie się powiat niemiecki. Jedyna nadzieja jeszcze w ludzie polskim, który nabywa parcele coraz liczniejsze i na nich się powoli dorabia. Oby ten lud polski umiał się lepiej oprzeć pożądliwości i pokusie.“

„Dziennik Kujawski“ dodaje do wiadomości tej następujące uwagi:

„I cóż powiecie na to, czytelnicy, że Mileszewy, gniazdo takiego wielkiego patryoty, męża niespożytych zasług dla sprawy narodowej — zostały sprzedane — i to komu? — oto „Komisyi kolonizacyjnej!“ Cios to okropny dla sprawy narodowej w Prusach Zachodnich! Znowu około 100 polskich rodzin będzie wyrzuconych z ziemi rodzinnej. Nasi przeciwnicy cieszyć się będą, że zdołali za złoto nabyć właśnie to dziedzictwo, w którem przebywał mąż wielkiego serca i wielkich zasług dla Polski. Zapłacili oni chętnie z tego powodu kilka, a może kilkanaście tysięcy marek więcej, aby szyderczym głosem przypomnieć słowa Mikołaja: „Będziecie mieli Polskę, ale bez Polaków“.

Jeżeli tak dalej dziać się będzie, jeżeli nasze wyższe klasy często bez potrzeby wyzbywać się będą z ziemi ojczystej, wtedy niedługo zapanują u nas takie same stosunki, jak w Szląsku i na Mazurach w Prusach Wschodnich. Powie może niejeden: „Przecież na Szląsku żyją Polacy“. Niezawodnie, że żyją, ale pamiętajmy, że Szląsk był niegdyś cały polskim, a dziś już tylko trzecia część osiadła jest ludem polskim, który się niemczy powszechnie, gdy osiągnie wyższe stanowisko.

Jedna z córek Łyskowskiego wyszła za mąż za dr. Wicherkiewicza w Poznaniu. Spodziewano się powszechnie, że zasłużony mąż ten powstrzyma cios grożący, ale zawiodła nas nadzieja. Przecież nie godzi się rozpaczać. Budzi się silnie iskra poczucia narodowego pomiędzy ludem polskim, dla tego też odzywamy się do rodaków słowami Juliusza Słowackiego:

Lecz zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei,
I przed narodem niosą oświaty kaganiec.

„Goniec Wielkopolski“ tak się odzywa:

„Wobec warunków, w jakich komisya Mileszewy nabyła, wobec tego, iż zgłosił się poprzednio inny nabywca Polak, że p. Paruszewski podobno większego majątku nie posiada, a fakt ten musiał być przez sprzedających przed aktem kupna omawiany, wobec tego wreszcie, że żadna ze spadkobierczyń ś. p. Ignacego Łyskowskiego nie cierpi niedostatku, sprzedaż przedstawia się społeczeństwu polskiemu jako czyn, przynoszący tym, którzy jej dokonali, wstyd niezatarty, piętnujący ich nazwą złych obywateli i obywatelek.

Oby społeczeństwo nasze występowało jak najsurowiej w razach podobnych, a opinia nie znała pobłażliwości.“

—

Dosadniej jeszcze piętnuje czyn ten „Orędownik“:

„Krew ścina się w żyłach na takie postępowanie, wstyd prawie być Polakiem — nie ma się odwagi spojrzeć Niemcowi w oczy!!

Nie ma dla tych pań i ich mężów żadnego wytłomaczenia. Wszyscy z nich są w dobrem położeniu materyalnem, ale nikt z nich nie chciał przejąć Mileszew. Byli podobno rodacy chcący kupić Milszewy, ale dla marnych kilku tysięcy trzeba było sprzedać Kolonizacyi.

Sądziliśmy, że kobiety nasze gorętszemi są Polkami, że do ostatka trzymać się będą tej ziemi, gdzie stała ich kolebka — niestety, sprzedaż Mieleszew poucza nas inaczej!!

Cześć wam — polskie kobiety — za sprzedaż ziemi polskiej na Kolonizacyę!!

Że sprzedażą Mileszew ma się tak, jak dr. Rabski scharakteryzował sprzedaż wsi w dramacie swym „Zwyciężony“. Był to wierny obraz, który się teraz żywo przedstawia przed oczy!

—

W okręgu Pszczyńsko-Rybnickim na Górnym Szląsku centrum postawiło na kandydatów

---

WANDA.

Trzeba odrzucić z życia wszystko, co być nie powinno, i raczej zaprotestować przeciw wszystkiemu, niż zgodzić się na jakikolwiek brud. Masz pan moje.

FIGURA (*z wyższością „doświadczonych“*).

Tak się mówi, gdy się jest młodym.

WANDA.

Mówi się inaczej, gdy się zarażono zgnilizną, lub gdy się jest tchórzem!

FIGURA.

W każdym razie, może gra twoja robiłaby większe wrażenie!

WANDA.

Przecie Kazio ma ogromne powodzenie.

KAZIMIERZ (*niespokojnie*).

Wandziu, czyś niezadowolona z mego wykonania?

FIGURA.

Ależ pan grasz wybornie! Jednak twórca... (*spogląda na zegarek*) A, jak późno! A mam tyle interesów.... Żegnam państwa! (*wychodzi*).

KAZIMIERZ (*klęka przed Wandą*).

Pani moja, ty się gniewasz na mnie?...

WANDA (*hamując rozdrażnienie*).

Wstań Kaziu; wiesz dobrze, że niema o co.

KAZIMIERZ (*obejmuje ją rękami*).

Jam tak szczęśliwy, że sława twoja jest dziełem mojem....

WANDA (*odrywa mu ręce*).

Wiem, nie mam żadnej tu zasługi... Sława to nie moja rzecz.

KAZIMIERZ (*przerywa jej*).

Talent mój jest podnóżkiem twojego... drutem telegraficznym, po którym od ciebie przechodzą na ludzi wstrząśnienia... przezemnie świat cię czci... bóstwo moje!

WANDA (*trzyma jego ręce, by jej nie obejmowały*).

Jeżeli rzeczywiście mnie kochasz, nie pracuj dla mnie. Chcę sama bez niczyjej pomocy przebyć wszystkie trudności. Ty mi dajesz racyonalny czy błędny ból uczucia, że to nie moja zasługa; odbierasz mi wrażenie własnej wartości, ranisz dumę reklamą.

KAZIMIERZ (*smutnie*).

Więc i moja pomoc cię upokarza? Pomoc człowieka, który radby dla ciebie spłonąć na stosie i na pal być wbitym... (*namiętnie*) O, nie, nie chcę umierać! Wszystkie tortury znieść, byle w końcu mieć ciebie! pracować dla twej wielkości i za pracę tę mieć cię całą — bezpodzielnie! Tylko, tylko dla ciebie! (*obejmuje ją ramieniem*). I dla ciebie być wszystkiem.

WANDA (*idąc za własną myślą*).

Kto wypełnia swe życie życiem jednego tylko człowieka, zbankrutać musi, bo całkowite oddanie duszy, drugiej, jest złudnem pragnieniem miłości, nie mającem odpowiednika w świecie realnym... Wreszcie to fetyszyzm!

KAZIMIERZ (*smutnie*).

To nie fetyszyzm... to codziennie wzrastająca rozpacz... Ty mi życie przepełniasz, lecz ja... pragnę tem być dla ciebie, czem jesteś dla mnie, lecz ci nie wystarczam... jam tylko szczegółem w tem życiu... Zamykasz twą duszę przedemną... nic nie wiem o tobie. Tyś mi nigdy całego dnia nie poświęciła... skąpisz mi ust swoich i czasu... Tobie potrzebnem jest wszystko życia; ja jeden cię nudzę... nudzę... prawda?...

(*Wanda roztargniona*).

KAZIMIERZ (*gorzko*).

Jam ci wszystko oddał! potęga twoja przykuła mnie do ciebie! Miałem niegdyś indywidualność twórczą; byłem kompozytorem genialnym: lecz ciebie usłyszałem i indywidualność twoja zabiła, pochłonęła moją! Teraz, gdy chcę tworzyć, powtarzam ciebie, i jak nędznie... Umiem już tylko być wykonawcą twych nieśmiertelnych dzieł! I z duszą to samo. Twoja pochłonęła moją, jak ocean kroplę słodkiej wody, niszcząc jej własności... Oceanie mój porwałeś mnie... czy mnie ty chcesz teraz wyrzucić na piasku?

WANDA (*badawczo*).

Dla czego chcesz mnie uczynić sławną?

KAZIMIERZ (*gorąco*).

Byś mnie zawdzięczała swą wielkość! Słuchaj... (*cicho*) ja ciebie kocham do obłędu...

do sejmu i parlamentu wbrew życzeniom ludu polskiego p. p. bar. Huenego i rektora Latacza. Z tego powodu „Gazeta Opolska“ pisze:

Co wyborcy w Pszczyńsko-Rybnickim na powyższe kandydatury powiedzą, nie wiemy. My jednak z nich nie jesteśmy wcale a wcale kontenci. Pan baron Huene zasłużył się wprawdzie przez założenie bardzo pożytecznego związku włościańskiego, rozciągającego się na polski i niemiecki Szląsk i wydającego czasopismo niemieckie i polskie (w tłomaczeniu). Pan Huene należy jednak do owych posłów z centrum, którzy byli za wojskiem, tak samo jak p. baron Reitzenstein, który go polecał. Pan Huene był w ostatnich wyborach do parlamentu w trzech okręgach jako kandydat na posła do parlamentu postawiony i we wszystkich trzech przepadł. Po polsku wcale nie umie.

Co do rektora Latacza, to właśnie przy dzisiejszym systemie szkolnym właśnie od rektora wiele spodziewać się nie można, bo choćby nawet miał dobrą wolę, to musi się liczyć z urzędem i stanowiskiem.

W ogólności o obydwóch kandydaturach trzeba powiedzieć, że są one kandydaturami niemieckiej partyi arystokratycznej, a tu chodzi o polski lud.

Widać ztąd, jak niepomyślnie ostatnim razem podług nowego regulaminu polscy wyborcy wybrali komitet, pomimo, że regulamin ten dość korzystnie jest ułożony. Polega to na tem, że w wielu okręgach jeszcze lud nie mając dosyć oświaty, na wszystko mówi: tak, tak, nie zastanawiając się nad tem, czy nie mówi na swoją szkodę. W Pszczyńsko-Rybnickiem jest jeszcze po części wielki brak oświaty.

Jaki komitet wyborcy wybrali, takich będą mieli posłów“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Dziennik chorwacki, wychodząca w Zagrzebiu „Hrvatska“ pisze:

„My Chorwaci jako naród, jesteśmy w świecie mało znani. Otóż dowód: Podróżując po Włoszech wraz z innym Chorwatem, nie wiedzieli Włosi kim jesteśmy, mianując się Chorwatami. Gdyśmy im ów wyraz powiedzieli, pytali się, gdzie jest owe królestwo Chorwacya. Znali nieomal wszystkie kraje i narody, ale nie znali Chorwacyi. Mój przyjaciel pisał mi z Insbruka, że tam spotkał się z Francuzem, dr. Furis, który nic nie wiedział o Chorwatach i Chorwacyi.

„Na wystawę węgierską, jaką się urządza w Budapeszcie, przyjadą ludzie ze wszech krańców świata. Czy tam będą mieli sposobność nabycia odpowiedniego pojęcia, co to są Chorwaci? Jak słyszymy będą tam figurowały nazwiska Chorwacya, Sławonia i Bośnia; czy ktokolwiek się domyśli, że nazwiska te oznaczają jeden kraj, kraj chorwacki? Ileż to różnic pomiędzy nami, choć jesteśmy połączeni politycznie i pod jednem żyjemy berłem!...

„Wystawa węgierska powinna się dla nas stać sposobnością pożądaną, aby światu pokazać, że naród chorwacki żyje, że z Madziarami spółrzędne zajmuje stanowisko, że za Drawą i Dunajcem to piękny kraj nasz chorwacki“.

* * *

Bułgarska „Swoboda“ pisze pod nagłówkiem „Polskite Westnicy“ (Polska prasa) co następuje:

„Wszystkie polskie dzienniki, z wyjątkiem tych, na których leżą okowy barbarzyńskiej cenzury rosyjskiej, jednogłośnie i z największemi pochwałami się rozpisują o zasługach, które położył Stambułow. Surowo potępiają one bestyalskie zamordowanie (zwirskoło ubijstwo) Stambułowa, szczerego patryoty bułgarskiego. Nie jest dla nas możliwem przedrukować owe artykuły, które się w sprawie tej pojawiły w prasie polskiej, tak dla ich znacznej liczby, jako też z tego względu, że w nich surowo potępia się obecny rząd bułgarski i upatruje moralnych sprawców zbrodni w księciu i jego otoczeniu. Nie czynimy tego, aby nas również nie posądzano, że podkopujemy powagę rządu i tronu.

„Głosy prasy polskiej, jako reprezentantki narodu tak wysoko ucywilizowznego, powinny mieć dla nas znaczenie, niechaj je sobie rozważą ci wszyscy, którzy nasz naród i naszą młodzież uwodzą, jakie to mniemanie ma o wrogach Stambułowa Europa“.

* * *

Młodoczeskie „Narodni Listy“ tak odpowiadają Bismarckowemu organowi, „Hamburger Nachrichten“, który zaleca Niemcom austryackim umiarkowanie wobec Słowian:

„Najwięcej w bismarckowym organie, w cytowanym artykule jest specyalnie bismarckowskiego cynizmu. Że daremnem jest każde pokuszenie o rządy Austryi przeciw Słowianom, jest oczywistem. Nieprawda atoli, jakoby w Austryi prób tego rodzaju nie czyniono, bo koalicya ostatnia była skierowaną przeciw Słowiańszczyźnie. Że w niej zasiadali Polacy, którym jest obojętne, kto w tej dobie do rządów się dostanie, ponieważ oni nie dla swych właściwości narodowych, ani dla mądrej polityki, ale wyłącznie z powodu polityki zagranicznej, jaką musi prowadzić Austrya, zbierać będą śmietankę w państwie, oraz że w niej zasiadał Kljun, Słowiniec, z tego wywnioskować nie można, iż koalicya była słowianofilską.

„Lewica niemiecka nie byłaby kwestyi cylejskiej tak wielkiego znaczenia nadała, gdyby do tego nie była zmuszoną z powodów innych. Lewica nie upadła skutkiem niedostatku chytrości, gdyż bezwzględności i wiarołomstwa nie potrzeba jej było uczyć się od Bismarcka. Liberalizm niemiecki upadł w Austryi skutkiem tego, iż się wszystkim tradycyom liberalizmu sprzeniewierzył, że Niemcy przekonali się, iż hasła jego to hasła wyzysku ekonomicznego i wyzysku żydów. Liberalizm niemiecki spadł w Austryi jako stronnictwo kapitalistyczne, którego egzystencyą podkopał drobny przemysłowiec i robotnik“.

D. K.

BADANIA NAUKOWE.

Do jasnej góry.

III.

Rzecz charakterystyczna, ilekroć zdarzyło nam się odczytywać opis świętej uroczystości, jakiej widzem był p. Wł. Reymont, zawsze otrzymywaliśmy te same wrażenia. Pątnicy islamscy w swojej pielgrzymce przedstawiają takie, może nawet jeszcze głębsze rysy, taką samą ufność i wiarę, która uzdrawia w niektórych chorobach; Hindusi, spieszący pogrążyć swoje grzeszne i chore ciało w świętych wodach Gangesu, posiadają podobną fizyognomię duchową, święto Zuniów, którego obchodem lud ten usiłuje wymodlić zdrowie i urodzaje, odznacza się takąż rytmiką spazmu i jęku. W tem wyładowaniu się uczucia, w ekstazie szlochającej, dogmat nie odgrywa najmniejszej roli, t. j. objawy i uwydatniająca się fizygnomia duchowa są wszędzie jednakie, bez względu na założenie oraz treść artykułów wiary. Ktoś z tego gotów wywnioskować, iż rozpatrywane uczucia, będąc tak rozpowszechnione, stanowią nieodłączną przynależność wszystkich epok rozwoju dziejowego. Nie, taki wniosek jest stanowczo nieuzasadniony.

Śród sprężyn, wydobywających z piersi ludzkiej ów jęk, musimy na pierwszem miejscu postawić poczucie własnej niemocy. Zola w najnowszej powieści roztacza obraz pociągów, zapełnionych szczelnie chorymi i kalekami, pędzących do Lourdes. Sceptyk, którego lekarze opuścili, z ostatnim błyskiem nadziei udaje się do miejsca świętego. A nuż pomoże! Ktoś inny, już umierający, czyni to samo. Przyjrzyjmy się tym obliczom w wagonie, noszącym na sobie znamię cierpienia, przysłuchajmy się rozmowom i życzeniom, tonowi melodyi i treści śpiewów, a zrozumiemy, że religijność tych

---

pragnę do męczarni... chcę cię posiadać, ciebie, potęgo! posiadać, by jej nie czuć! — by, czując cię słabszą, wątlejszą odemnie, stracić poczucie twej wyższości i mocy!

WANDA (*wstrząsa się, zrywa*).

Coś powiedział?... (*odpycha go*) chyba nie znasz znaczenia, brutalności tego, coś powiedział!

KAZIMIERZ (*wybucha*).

Tak... pragnę cię!... bądź wielką i potężną... lecz w mych ramionach jesteś słabą, czarującą kobietą tylko! Posiadam cię w zamian za twą potęgę czaru nademną! W zamian za duszę zwichniętą, w zamian za zniszczoną karyerę, za podległość myśli i męczarnie namiętności, jesteś moją!

WANDA (*gwałtownie chwytając się za głowę*).

Więc to tak? (*dziko*) ha! więc wy, mężczyźni, siły mej nie znosicie? Jedni chcą ją wprost złamać! a drudzy żądają odwetu! — podli!

KAZIMIERZ (*gwałtownie*).

A nie podłem jest zniszczenie indywidalności, twórczości, życia?

WANDA (*szyderczo*).

Ha, ha! Czyście wy mieli odrębność jaką?... Czy walczyłam z wami? Czyście przedstawili mej sile waszą?... Czym was chciała ujarzmić, opanować?

KAZIMIERZ.

Tak, tak! Wyzyskałaś mnie, teraz ci już nie jestem potrzebny!

WANDA (*gwałtownie*).

Ja cię wyzyskałam?... jam potrzebowała ciebie?... Czyś zapomniał, że policzkiem dla mnie jest każden twój koncert, obelgą, twa wspaniałomyślna reklama? Ja jej nie chcę! nie chcę! (*oburzona*). Ja cię wyzyskuję. Tobie przypisują moją twórczość nawet! Grę twoją czczą w hymnach krytyk pochwalnych! Ty zbierasz laury mej pracy i jeszcze ci mało?... Ha, ha! ja mu „karyerę“ zniszczyłam! (*ze wzgardą*) mnie o nią nie chodzi, zabierz ją sobie! (*wstrząsa się*). Dla czego ty mnie zmuszasz do słów brutalnych? Przecie to co robisz, robisz z przywiązania, sam, wbrew mej woli!

KAZIMIERZ (*chwyta ją w objęcia*).

Ja chcę ciebie! Tylko ciebie! Ciebie całą!

WANDA (*odsuwa go, z goryczą*).

Tak, tylko mnie, mnie całą! Wiem, że to mało; lecz ty nie wiesz, że to niemożliwe!

KAZ6MIERZ (*z gorączką*).

Dla czego niemożliwe?

WANDA (*z powagą i smutkiem*).

Bo niczyją być nie potrafię i nie powinnam, bo tylko niepodległa, rządząca sobą i sama mogę oddać duszę swą światu... Należę tylko do siebie i wszystkich! Zacieśnienie uczuć myśli, marzeń, zabija... Wszystko, co mnie krępuje. wyniszcza... Miłość, jak reszta. Każden gatunek dusz wymaga dla swego rozwoju pewnego mniejszego lub większego stopnia swobody. Mnie jej potrzeba, bezgranicznie.

KAZIMIERZ (*gorzko*).

O! ty mnie nie kochasz! tak nie mówi kobieta, gdy kocha.

WANDA.

Czyż mnie sądzić można jako kobietę?...

KAZIMIERZ (*gwałtownie*).

Ja chcę ciebie nią mieć!

WANDA (*odrzuca dumnie głowę*).

I mieć nie będziesz! Przez ciebie mówi mężczyzna, a ja schylam głowę przed człowieczeństwem, nie przed płcią!

KAZIMIERZ (*wstrząsa nią dziko*).

Myślisz, że nie mógłbym postąpić z tobą, jak mi się podoba? Jesteś w mojej mocy!

WANDA.

Gardzę tobą! Spróbuj! (*patrzy na niego hypnotyzująco, z pogardą*).

KAZIMIERZ (*odsuwa się z dreszczem*).

Gardzisz mną... (*dziko*). Ach, jak ja ciebie nienawidzę! (*patrzy na nią*). Jak ja cię kocham!

WANDA (*gorzko*).

Tak, kochasz, by osiągnąć to, czegoby nie dostąpiła nienawiść!

(*Milczenie*).

pątników to nieustający okrzyk rozpaczy w obliczu nieubłaganej grozy śmierci — tam, w obawie i jednocześnie w nadziei wyzdrowienia zamarły inne głosy, ucichły wszelkie powątpiewania. Kompania, udająca się do Jasnej Góry, przedstawia ten sam obraz: pątnicy ciągną tam szukać leków i ukojenia. Jedzie staruszka, która od lat dwudziestu nie chodzi — sama, bez dzieci i wnuków, bo je zabrał Pan Bóg, i mór, i człowiek. Pragnie ona wyprosić lekką śmierć dla siebie. Tęga i energiczna baba wiezie dotkniętego suchotami syna: powędrował z innymi do Brazylii, wrócił, naturalnie bez pieniędzy, ale za to z zarodkiem nieubłaganej choroby. Jadą wozy za wozami, na których widać to ślepych i chorych, to sparaliżowanych, to dotkniętych niemocą, na którą nie ma u ludzi lekarstwa. Przesuwa się karawana dusz i ciał okaleczonych, okropny teatr życia, jak sen pelen widziadeł dręczących. „Widzę i czuję — pisze z tego powodu p. Wł. Reymont — przez te grube powloki, przez wychudzone maski twarzy, mam prawie zupełną świadomość stanu ich dusz i ich cierpień. Widzę, że nie na spacer idą, wiem, po co idą. I moje „ja“ sceptyczne, ironizujące, bo wyhodowane w ciasnej komórce życia miejskiego, cofa się z trwogą i podziwem, stoi zdumione i niepewne wobec tylu cierpień, tylu trosk, tylu boleści... Widzę i czuję, że tu, w tym tłumie nie ma prawie serca, duszy, głowy, któraby nie niosła brzemienia niedoli, coby nie szła z ufnością i nie wierzyła, że skoro położy łzy swoje przed Panienką Najświętszą, skoro jej wypowie ból swój, skoro otworzy serce zbolałe — wszystko to otrzyma. I coby robiły wszystkie te dusze, bóle, skargi cierpienia, nędze wszelakie, gdyby je teraz, natychmiast, ogarnął mrok zwątpienia i nie wiedziały dokąd iść i nie wiedziały, w co wierzyć i komu się oddać w opiekę z tą bezgraniczną ufnością?“

Niemoc więc wszelaka, duchowa i fizyczna, ciągnie do miejsca świętego, ufna, że na dolegliwości i zmartwienia znajdzie tam ukojenie. Gdybyśmy liczbowo ocenili obfitość różnych żywiołów, biorących udział w pielgrzymce, gdybyśmy w ciągu dalszym przyjrzeli się fizyognomii duchowej każdej z tych gromad pątniczych, gdybyśmy wreszcie zanalizowali naturę spazmu, wydobywającego się z piersi pielgrzymów, stosownie do pochodzenia tego, który go wydał, naówczas ujrzelibyśmy, że rytmika ekstazy i jej barwa są kategoryami natury społecznej, t. j. zmieniającemi się w zależności od trybu życia tego lub innego pątnika: u włościanina jest ona inną, aniżeli u mieszczucha, głębszą, bo wstrząsającą całem jestestwem. Religijność ludu wiejskiego tem samem jest zgoła odrębną. I właśnie niemoc stanowi w niej akord panujący — bardziej, niż u jakiejkolwiek innej warstwy, pokrewny językowi, rozbrzmiewającemu w hymnie: „dnia onego, dnia strasznego“.

Inaczej zresztą być nie może, bo tak każe włościaninowi postępować cały tryb jego życia. Wszystkie warunki jego bytu składają się na taki spazm bezsilności. Miasto sprzyja sceptycyzmowi: jego mieszkaniec nie troszczy się o kaprysy przyrody, nie trwoży się, kiedy na dalekim widnogręgu wisi czarna chmura, zwiastunka może gradu. Życie jego płynie z dnia na dzień, zabezpieczone przed niespodziewanym kataklizmem, tak samo prawidłowo, jak odchodzą i przybywają pociągi na kolei. Na każdym kroku, tam w mieście, przyrodę ubezwładniono, spętano w jej dzikich porywach i uzależniono od woli człowieka. Pod wpływem takich stosunków i wogóle całej atmosfery miejskiej istota ludzka zapomina o wszystkiem, co nie jest natychmiastowem użyciem i z niem nie wiąże się w taki lub inny sposób. Sceptycyzm, nieświadomie wyrosły, nie sformułowany nawet jasno, ogarnia całe jego jestestwo, dążnościom życia, przejawiającym się z godziny na godzinę, przeciwdziała jedynie idea, pozostała z przeszłości, która każe wierzyć w pewien dogmat i spełniać odpowiednie praktyki. Tylko wtedy, kiedy przyjdzie nieszczęście, na które nie ma lekarstwa, kiedy nieuleczalna choroba powali człowieka, wtedy ten i ów otrząsa się z niewiary. Zupełnie inaczej dzieje się w duszy włościanina — mówię naturalnie o wieśniaku, który gospodaruje według wzorów praojcowskich i w starodawnem otoczeniu. Żyje on w nieustającej trwodze, postawiony bezpośrednio przed obliczem nieujarzmionych sił kapryśnicy przyrody. W jego trybie życia, co więcej, w całem otoczeniu nie ma takich pierwiastków, któreby go natchnęły śmiałością i dały tę niezachwianą pewność siebie, jaką odznacza się mieszkaniec miasta. Posucha może zniszczyć wszystkie nadzieje zbiorów, burza od jednego razu stłucze plony, piorun zaś z dymem puści cały dobytek, z takim mozołem nagromadzony, długotrwałe roztopy zaszkodzą zasiewom. Albo przyjdzie pomór na bydło i gospodarz będzie do szczętu zubożony. I wszystkie epidemie, i kaprysy przyrody swawolą w życiu bezkarnie, jak śnieżna zamieć na pustym stepie. Spogląda on na to wszystko bezwładnie, w najzupełniejszem poczuciu swojej niemocy: kiedy pożar w palących uściskach obejmie wioskę i będzie ją zamieniał na zgliszcza, nie ma tam na wsi żadnej zorganizowanej pomocy; żadne środki zapobiegawcze nie będą zwalczały zarazy, gdy padnie na ludzi. Przyroda wciąż zagraża jakimś wybrykiem, przeciwko któremu bronić się nawet na myśl nie przyjdzie wieśniakowi. Poczucie tej niemocy nigdy nie opuszcza go, obawa ciągle tkwi w jego duszy. Dotknięty powiewem sceptycyzmu mieszkaniec wielkiego miasta, wydobywa z siebie jęk bezsilności dopiero wobec nadciągającej śmierci; przeciwnie, spazm niemocy, w stanie ukrytym, istnieje bez ustanku w duszy wieśniaczej. Prowadząc swoje studya etnograficzne, bywam niekiedy wprost zdumiony niezmierną siłą tego szlochania, jakie wydobywa się podczas ekstazy religijnej z piersi rolnika, tą rozpaczą i niemocą, które rozbrzmiewają w psalmach barbarzyńców. Są chwile, kiedy jako robactwo czołgają się oni, myśląc o popełnionym grzechu i odpowiedzialności, która spadnie w postaci huraganów lub posuchy, głodów i moru. Ażeby pola wydały plon, oczyszczają siebie pokutą i spowiadają się, u niektórych plemion przychodzi rok rocznie stały odkupiciel za grzechy, „boży człowiek“. Idzie on na dni kilkanaście na pustynię pocić się w modlitwie, i pościć i pokutować, w plemieniu gaszą wszystkie ognie na kominach, nie jedzą nic gorącego. Płacz, szlochanie i „zgrzytanie zębów“ unosi się nad krajem. Aż wreszcie pokutnik plemienny wraca wycieńczony i straszne dnie skruchy i sądu ustają. Lud oczekuje wtedy żniw, pracuje w pocie czoła, usiłuje swojem postępowaniem nie ściągnąć na siebie gniewu nieba Dopiero kiedy plony już w śpichrzach i człowiek został do przyszłych zbiorów wolny od troski o urodzaj, wtedy nastają dnie szalone — „grzechu“, „rozpusty“, po których przychodzi w odpowiedniej porze upamiętanie. Taką jest psychika religijna poganina-barbarzyńcy: niemoc wobec sił przyrody stanowi w niej akord głośny. Taką pozostaje ona u wszystkich rolników, pracujących według wzorów staroczesnych i pradziadowskiej zależności od kaprysów przyrody, Przy każdej więc okazyi, kiedy bezwiedna robota mózgu wysunie na jaw i uprzytomni całą niemoc człowieka, dusza włościańska będzie jęczeć bez końca, bo tak być musi.

Ale w religijności ludu istnieje jeszcze inny akord — ekstazy gromadnej, posiadającej odmienną naturę, aniżeli gdzieindziej i występujący zwłaszcza w pewnych porach roku. Uprzytomnijmy sobie w wyobraźni zmudną pracę żniwiarzy: schylony kark od wschodu do zachodu słońca, ciężki a jednostajny wysiłek mięśni, skwar panujący w powietrzu. Człowiek rzuciłby się jak kłoda na ziemię, leżałby tam bezwładny, napawając się rozkoszą odpoczynku mięśni. Nadchodzi niedziela i tłumy zebrały się w kościołku wiejskim. Śpiewy chóralne, dźwięki organu, rozchodzący się od ołtarza

---

KAZIMIERZ (*z bólem*).

Dla czego jesteś inną od drugich?

WANDA.

Dla czego drugiej nie kochasz?

KAZIMIERZ (*gwałtownie*).

Dla czego cię spotkałem!

WANDA.

Dla czegoż się zatrzymał?

KAZIMIERZ.

Dla czego mi kłamałaś miłość! Boś ty nie kochała!

WANDA.

Dla czego nie zadowalasz się tem, co dać mogę?

KAZIMIEZ.

Dla czego zniszczyłaś moją twórczość, moje ja?

WANDA.

Dla czego się dałeś zabić?

KAZIMIERZ (*gwałtownie*).

Dla czego, widząc żem słaby, nie odepchnęłaś mnie od siebie! Chciałaś panować!

WANDA.

Dla czego nie znałam twej słabości?...

KAZIMIERZ (*wybucha*).

Dla czego! Dla czego! Co ty jak echo powtarzasz za mną pytania?

WANDA.

Dla czego pytasz o rzeczy, na które odpowiedzą mogą być tylko pytania?

(*Wchodzi Leon*).

LEON.

Nie przeszkadzam?

WANDA.

Przeciwnie, wdzięczni panu być możemy za przerwanie.

KAZIMIERZ.

Deptania po mnie.

LEON.

Pozwalasz na to?

(*Wanda obojętnie, lekko szyderczo patrzy na obu*).

LEON.

Pani milczy, zapewne nie widząc potrzeby obrony.

WANDA (*j. w.*)

Zgadłeś pan.

LEON.

To nie domyślność, lecz znajomość pani dyalektu.

WANDA (*j. w.*)

Co dobrza świadczy o twych filozoficznych zdolnościach.

LEON.

Lub o odrębności mowy pani. Rzeczywiście zdumiewające.

WANDA (*rozdrażniona*).

Zerozumiałością, prawda?

LEON.

Teraz pani odgadła.

WANDA.

To znajomość pana zwykłej, wspólnej wszystkim mowy.

LEON.

Zwykła, bzć może; lecz ma tę dobrą stronę że jest zrozumiałą.

WANDA.

Właśnie dla swej powszechności.

LEON.

Ja nie mam pogardy dla tego, co ludzkie.

WANDA.

Ja zaś kocham człowieka, lecz nienawidzę w nim pospolitości; dla tego, że go kocham. Lecz jeżeli „człowiek“ dla pana jest synonimem „pospolitości“, rzeczywiście, gardzę nim.

LEON.

Zdarza się niedy, że pospolici krytykują bogów i dostrzegają u nich swe własne błędy i plamy w powiększeniu.

WANDA (*wzdryga się*).

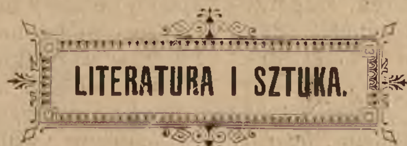
O czem pan chcesz mówić?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

dym kadzideł, i wreszcie odpoczynek mięśni, stanowią swego rodzaju szczególną podnietę dla ekstazy duchowej. „Przyjemność ruchu — spowiada się p. Wł. Reymont — oddychanie swobodne czystem powietrzem, zadowolenie odpoczynku pod gołem niebem, i ten sam dreszcz dziwny na widok księży, kościołów, pięknych ceremoniałów, złoceń i tak samo łzy zalewają mi oczy i spazm rozczulenia skręca mi serce, gdy usłyszę poważny głos organów, gdy mnie owionie mroczny chłód świątyń, gdy księża używają w przemowach pewnych pobudliwych wyrażeń: kara... cnota... piekło... Amen, mówią to patetycznemi głosami!“ Dodajmy do tego jeszcze odpoczynek mięśni, a otrzymamy właśnie fundament fizyologiczny ekstazy wieśniaczej. Serca rozczulają się nie pod wpływem dogmatu, trzeba jedynie wyrazów pobudliwych: cnota.. kara... piekło — nabożeństwo przestaje być rozmyślaniem o artykułach wiary i wątpię nawet, czy jest jakiemkolwiek rozmyślaniem, raczej jest to stan ukołysania i zapomnienia, podobnie działający, jak śpiew matki na niemowlę.

Religijność więc ludu wiejskiego posiada właściwą sobie fizyognomia, która wypływa z warunków bytu. Kompania, złożona z takich żywiołów, przedstawia rysy zgoła odmienne, aniżeli pątnicy, wychowani i żyjący w atmosferze wielkiego miasta — o ile będą szli oddzielnie, bo w tej samej pielgrzymce różnice zostaną zatarte pod działaniem powstającej jaźni gromadnej. Po przez duszę ludzką przemawiają tam żywioły odmienne: tryb życia, otoczenie, warunki utrzymania. Ale ogół tych stosunków, kładących takie piętno na ekstazie religijnej, zmienia się z biegiem czasu nawet w najrutyniczniejszem ustroniu, nurt duchowy, przeszywający jestestwo wewnętrzne człowieka, zwolna osadza tam w głębi inne pierwiastki i przeistacza całą naturę. Obecna doba jest właśnie chwilą zmian bardzo poważnych w warunkach bytu ladności wiejskiej: niszczy ona dawną bezsilność wobec kaprysów przyrody, którą zaprzęga w jarzmo uległości względem woli ludzkiej. Chociażby już jedno zaprowadzenie dróg, tem bardziej zaś kolei żelaznych, umożliwiających szybki a masowy dowóz żywności do okolic, zagrożonych przez nieurodzaj, musiało wywrzeć wpływy bardzo doniosłe. Stanowczo wątpię, czy dzisiejszy włościanin wobec potworów żelaznych, przerzynających znaczne przestrzenie, zdołałby wydobyć z siebie ów hymn ponury, jaki w dies irae dies illa przekazały nam wieki średnie. I każdy postęp techniczny, każde ulepszenin społeczne, ubezpieczające wieśniaka przeciwko klęsce pomoru i gradu, to nurt, odrywający cząstkę po cząstce z owych pokładów niemocy. Naturalnie, póki istnieje osada włościańska, już przez sam swój ustrój gospodarczy skazana na rutynę, dopóty pierwiastek taki będzie tam istniał, skutecznie opierając się wszystkim oddziaływaniom ze strony ideologów sceptyzymu, choć bądź co bądź zmniejszać się on będzie, bo musi. I z drugiej strony technika, dając kosiarkę zamiast kosy, żniwiarkę zamiast sierpa, usuwa znowu dawne pierwiastki fizyologiczne ekstazy i dąży do nadania jej innej postaci. A zatem objawy uczucia religijnego są naprzód niezależne od dogmatu, powtóre zaś stanowią funkcyę czasu i zmieniają się z ukształtowaniem warunków bytu.

L. K.



LITERATURA I SZTUKA.

Salony paryzkie.

Paryż, w lipcu.

Dzień pierwszego maja bywa zwykle w Paryżu nie tylko świętem robotniczem, ale zarazem świątecznym dniem sztuki. Świat artystyczny obchodzi w dniu tym uroczyste otwarcie salonu paryzkiego, t. j. powszechnej dorocznej wystawy malarstwa i rzeźby. Paryżanie nazywają to uroczystością *vernissage'u*, co ma oznaczać, że w dniu tym odbywa się ostateczne wykończenie malowideł, wystawionych na widok publiczny.

Podczas gdy robotnicy na licznych zgromadzeniach hałaśliwie domagają się ośmiogodzinnego dnia roboczego i organizują manifestacye dla stwierdzenia postępów socyalizmu, w którym widzą ekonomiczną i społeczną przyszłość Francyi: artyści, literaci, cała inteligencya paryzka spieszy na Pola Elizejskie, ażeby oglądać i podziwiać tysiące płócien i rzeźb, wystawionych w Pałacu przemysłu: chodzi tu o postępy sztuki, o najświeższy ruch artystyczny.

Sama jednakże wystawa w Pałacu Przemysłu nie daje jeszcze zupełnego obrazu tego ruchu. Znaczna część artystów, wystawia swe prace, nie należące do konkursu, w osobnym Salonie, znajdującym się na Polu Marsowem, i dopiero oba te salony razem wzięte *Le Salon du Champs de Mars* i *Le Salon des Champs-Elysées* są do pewnego stopnia miarą rocznego dorobku w dziedzinie sztuki plastycznej i dają pojęcie o najnowszych kierunkach i prądach artystycznych.

Salon właściwy — na Polach Elizejskich — jest o wiele liczniejszym i więcej urozmaiconym; ale i w salonie na Polu Marsowem, chociaż mniej licznym, znajdzie się także kilka płócien pierwszorzędnej wartości, kilka prac, uderzających świeżością i oryginalnością; a przytem ma on jeszcze jednę stronę interesującą, że nader gościnnie otworzył podwoje dla sztuki zagranicznej, widzi się więc tu współczesną twórczość francuzką w zestawieniu ze szkołami zagranicznemi, i przyznać trzeba, że malarstwo francuzkie wiele traci na tem porównaniu, pomimo płodności talentów francuzkich i gorączkowego ubiegania się o nowość.

Zacznijmy więc nasz przegląd od wystawy na Polu Marsowem i ażeby odrazu wejść in media res, spojrzyjmy na wielkie płótna dekoracyjne. Znajduje się między niemi płótno głośnego mistrza *Puvis de Chavannes'a*. Wprawdzie Max Nordau w świeżym artykule, zamieszczonym przed kilku dniami w feletonie wiedeńskiej „Neue Presse“ odmawia mu oryginalnego talentu i utrzymuje, że jest on tylko lichym naśladowcą Kornelius'a: ale ogół publiczności zachwyca się płótnami Puvis de Chavannes'a, i bądź cobądź mistrz ten potężnie przemawia do wyobraźni współczesnych i posiada niezaprzeczenie jakiś niezwykły urok poetyczny, tak dobrze trafiający do duszy współczesnego widza.

Przyjrzyjmy się bliżej jego „Muzom natchnienia, witającym Geniusza światła.“ Artysta, który dotychczas siły swe poświęcał wyłącznie Francyi, pierwszy raz przyjął zamówienie na większe dzieło, przeznaczone dla zagranicy, mianowicie dla ozdoby portyku biblioteki publicznej w Bostonie. Chodziło o pokrycie muru szerokości dwunastu a wysokości dziesięciu metrów. W dolnej części muru znajdują się drzwi, górna jest przecięta siedmioma kobłąkami, spadającemi ze sklepienia. Puvis de Chavannes wydobył z tego rozkładu efekta niezrównanie czarodziejskie.

Na brzegu Oceanu, którego głęboki błękit jest ograniczony niebem, idealnie łagodnem, w swych zmierzchach opalonem, upstrzonem lekkiemi biało-żółtawemi obłokami, o rozgrzanem plamami gasnącego złota, — dziewięć Muz zabiera się do lotu z zaokrąglonego szczytu skały. Zobaczyły one Geniusza, bujającego na wozie z chmur pośród eteru, młodzieńca nagiego o dumnych rysach, z rozwiniętemi skrzydłami, który swemi rozpostartemi rękoma rozrzuca snopy światła, — i w nierównych grupach dążą ku niemu te dawczynie natchnień. Jedne dotykają jeszcze stopami ziemi, pełnej zieloności, nastroszonej tu i owdzie szczepkami dębów i obwiedzionej na wyniosłościach przezroczystemi rzędami drzew laurowych. Inne wzbiły się w powietrze i unoszą się w błękitach, niby białe motyle.

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

Pauli wrócił się i wszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie zajął miejsce przy okrągłym stole. Po chwili Bergström zajrzał ostrożnie i zobaczył go przy stole zajętego... dłubaniem w zębach.

— Małe zwierzę! — pomyślał Bergström gniewnie — z jak poważną miną tu siedzi, a jak stroskany ma wygląd, zdawałoby się, że bóle świata całego odczuwa! Usłyszał teraz jak czegoś zażądał, a irytował go ton jego pełen skargi, sentymentalny prawie, tak dobrze mu zdawna znany! Jak on udaje! Człowiek, który nigdy nie miał zmartwienia, któreby głębiej odczuł!...

Powoli zamieniał się gniewny nastrój Bergströma w złość cichą, krew uderzyła mu do głowy na wspomnienie tego, co zawdzięczał temu człowiekowi! Tak, bo tylko on, nikt inny, tak wszystkiem pokierował! Przez złośliwość swą... z obawy przed Nörgaardem... a może z nienawiści do córki swej to uczynił?!... Co to za łotr! — pomyślał — oto wydaje ją za tak ohydne indywiduum i ręce zaciera z radości do tego!... Bo jakiż on, mimo swego wyglądu, mimo głębokich na czole zmarszczek, zadowolony! Życie dwojga ludzi bez skrupułów spaczył, a zupełnie mimo to spokojny. Jego to tylko wyprowadzić może z równowagi, gdy pisząc dzieło znaleść nie może lśniącego dowcipu... Miły człowiek!

Bergström siedział jak w ogniu, niecierpliwie targając swe włosy. Wypróżnił kieliszek, poczem wstał.

— Muszę mu jeszcze za wyświadczoną mi przysługę podziękować — rzekł do siebie.

Z rękami w kieszeniach, zbliżył się leniwym krokiem do stołu doktora.

— Żebym tylko mógł panować nad sobą! — pomyślał — trochę wspaniałomyślności i spokoju!...

Przystanął i niedbale głową skinął.

Pauli spojrzał; w pierwszej chwili zmieszał się i brwi ściągnął, zaraz jednak uśmiechnął się łaskawie i spytał tonem serdecznym, choć zdziwionym:

— Ach, to ty? zmartwychwstałeś?... No, cóż porabiasz?

— Dziękuję, — a Pan? — odrzekł Bergström, kładąc nacisk na ostatni wyraz.

Pauli podniósł na niego oczy.

— A więc mamy do siebie odtąd mówić „Pan“ — rzekł uśmiechając się — dobrze, wszystko mi jedno... ale czem mogę panu służyć? pozwoli pan wina może?...

— Dziękuję, proszę nie trudzić się dla mnie!

— Sądziłem, że gościa należy czemś poczęstować... a...

Nie dokończył swej myśli; nastała dłuższa pauza. Bergström usiadł naprzeciw na krześle; kołysząc się z lekka, patrzał drwiąco na swego sąsiada.

— Czy mogę panu powinszować? — rzekł w końcu.

— Czego?

— Zaręczyn córki pańskiej, rozumie się...

— Zerwania ich, chciał pan chyba powiedzieć? dziękuję...

Bergström stanął w płomieniach i gniewnie przygryzł wargi.

— Nie tego! — rzekł po chwili, siląc się na spokój — sądziłem jednak, że byłeś pan tak dalece zadowolonym z pozbycia się mojej osoby niebezpiecznej z swego otoczenia, że czemprędzej postarałeś się o zastępcę... tem bardziej, że ideał odpowiedni zaraz był pod ręką... pan Nörgaard nadaje się najlepiej do wypędzania złego wodą święconą...

— Zawsze to utrzymywałem — odparł obojętnie Pauli — że we wszystkiem swój czas wyprzedzasz.

— A więc to jeszcze nie nastąpiło?

Widać, jak się kołyszą miękko, udrapowane harmonijnie w dziewicze białe szaty i wyciągają ku Geniuszowi swe liry i podają mu wieńce. Inne jeszcze brząkają na cytrach. Ostatnia z nich zdaje się być zbudzoną z długiego snu; ma oczy jeszcze przymknięte i biernie, nieświadomie ulega, porwana tajemniczem tchnieniem, które ją unosi ku Geniuszowi, i ruchem nieskończenie wdzięcznym z powodu swej naturalności, rozszerza ramiona, odsuwając nieznacznie ze swej twarzy powiewne fałdy swej długiej zasłony.

W pośrodku pagórka, nad którym unoszą się muzy, wypadają właśnie drzwi. Z każdej strony tych drzwi, które przywołują wyobraźnią do rzeczywistości, gdyż mają być jedynem wejściem do wielkiej sali, do której Bostończycy będą wchodzili na lekturę, artysta przedstawił dwie duże siedzące postacie kobiet w szarym kolorycie. Jedna zatopiona w myślach — to skupienie ducha — opiera na ręce myślące czoło; druga, zajęta czytaniem księgi, którą trzyma otwartą na kolanach — to Nauka. Obydwie te postacie traktowane są w wielkim stylu, i nacechowane szlachetnym spokojem, co jest w wysokim stopniu imponujące. Mają zaś tę nieocenioną zaletę, że stanowią doskonałe, a zarazem bardzo proste przejście między rzeczywistością, jaką przedstawiają drzwi, a fantazyą, ku której wznosi nas artysta... Całość, pomimo zmanierowanego cokolwiek Chavannes'owskiego stylu, sprawia wrażenie w wysokim stopniu harmonijne i budzi głębokie wzruszenie poetyckie, graniczące z marzeniem.

Sposób zaś wykonania tego alegorycznego pomysłu przedstawia typowe cechy wielkich płócien dekoracyjnych i wykazuje jasno, że zwykły obraz i to, co Francuzi nazywają *la peinture morale* to dwie rzeczy różne. Różnicę te najlepiej można ocenić przez porównanie płótna Puvis de Chavannes'a z trzema innemi płótnami, przeznaczonemi do ozdoby gmachów publicznych, a wystawionemi w tym samym salonie. Są to „Szczęśliwe dni“ *Friant'a* przeznaczone do sali ratuszowej w Nancy, „Poranek w Halach centralnych“ *Lhermitte'a* i „Rozkosze życia“ Roll'a, które mają zdobić ratusz paryzki. Wszyscy ci trzej artyści mają zasłużoną renomę i płótna ich, jak zobaczymy, nie pozbawione są wybitnych, nawet pierwszorzędnych zalet — ale nie są wytrzymane w całości w szerokim stylu dekoracyjnym. Odsuńmy się od nich na kilkanaście kroków, — i oto zaczynamy widzieć tylko plany, i to wcale nieprzyjemne dla oka. Szczegóły, które zachwycają nas zblizka, na pewnej odległości stają się zbyteczne i traci się jednolite wrażenie całości, a w oko wpadają tylko osobne części obrazu. Uogólnione zaś postacie Puvis de Chavannes'a, z odległości nabierają jeszcze więcej wyrazistości, perspektywa się rozszerza i oko z zadowoleniem obejmuje harmonijną całość.

Friant, Roll i Lhermitte — to realiści współczesnego malarstwa francuzkiego, czerpiący natchnienie w otaczającej ich rzeczywistości i posiadający wierny zmysł odtworzania jej kształtów zewnętrznych; znajdują w niej dosyć materyału malowniczego i cokolwiek poezyi...

Płótno Lhermitte'a, przedstawiające słynne „Hale paryzkie“, czyli główną targownicę miejską, mogłaby uchodzić za ilustracyę do znanej powieści Zoli „*Ventre de Paris.*“

Jest to rzeczywistość, pochwycona na gorącym uczynku — to mrowie przekupniów, kwiaciarek, tragarzy i gapiów; te masy marchwi, rzepy, kapusty, dyń, tylekroć opiewane przez poetów z Chat-Noir. Są tam wszystkie typy, wszystkie okazy tego rynku. Malarz umieścił tam i siebie: stoi na uboczu i sympatycznem spojrzeniem ogarnia to ciekawe widowisko. Płótno ze wszech miar zasługuje na uznanie — tyle w niem barw, natury i prawdy.

Friant należy także do najzdolniejszych realistów we współczesnem malarstwie francuskiem i maluje bardzo ładne obrazki rodzajowe i idylle współczesne, zadziwiające staranniem i wiernem odtworzeniem szczegółów; ale niestety metoda i faktura jego zawodzi go w wielkich płótnach. Młoda matka z dzieckiem przy piersi, dwoje robotników na trawie i stara kobieta, wyciągająca zieloną gałązkę do dziecka, dobry to temat do obrazu rodzajowego, ale nie ma w niem materyału na wielkie płótno dekoracyjne, jakiem ma być jego obraz, zatytułowany: „*Jours heureux*“.

Roll wreszcie w swym obrazie „*Joies de la vie*“ przedstawia kobiety, kwiaty i muzykę: temat, wymagający wdzięku i lekkości *a la Watteau*, czego nie ma wcale w malowidle Rolla. W gaju pod Paryżem, w jasnych promieniach słońca, odbywa się bachanalia wyuzdana, do której przygrywa trzech muzykantów w czarnych surdutach. Nagie, dosyć niezgrabne kobiety wygrzewają się w słońcu na trawie; inne opasują ramieniem kochanków. Miał to być zmodernizowany Rubens, odświeżony *plein-air'em*, jak się wyraża pewien krytyk; lecz próba nie udała się i zamiast monumentalnego jakiegoś „Święta Venery“ mamy przed sobą zwykły... *Moulin Rouge*.

Z innych obrazów możemy tu wspomnieć jedynie o najwybitniejszych, o tych, które albo przedstawiają typowe cechy szkoły, albo też zdradzają potężną indywidualność autora i oryginalną pomysłowość. Przedewszystkiem zaś zwracamy uwagę na *Besnarda*. Stanowi on wybitny kontrast z Puvis de Chavannes'em, bo podczas gdy płótna Puvisa odznaczają się melancholią barw, wyuzdany jaskrawy koloryt cechuje Besnarda. Barwy szmaragdów, topazów i szafirów mienią się na jego płótnach; koloryt ten działa magicznie, ale często bywa sztucznym, niezgodnym z prawdą przyrody. Świetny rysunek i pomysłowa kompozycya dopełniają całości. Niedawno podziwiano jego utwory w salonie pasteli. Teraz odświeża w pamięci widzów dwoma nowemi obrazami algierskiemi, silne wrażenie wspaniałych tonów i jasnych, ożywionych harmonii. Kto lubi konie, dozna prawdziwej niespodzianki, patrząc na jego „Jarmark koński pod Algierem“. Zobaczy tu rasowe konie arabskie w ruchu i podczas spoczynku, ich dreszcze skóry, ich niecierpliwe grzebanie nogami, zdradzające ich ogień i gorącą krew. A wszystko to oddane bez wysiłku, jakby przypadkiem, z wytworną lekkością pędzla. Układ i rysunek bez zarzutu, koloryt świetny, zanadto świetny: ta wspaniała gra tonów lila, fioletu i topiącej się miedzi pieści i rozwesela oko, ale musi się wydać przesadną na skórze nawet rasowych koni arabskich. Czarodziejski ten koloryt o wiele naturalniejszym jest w drugim obrazie tego samego malarza, przedstawiającym „Widok portu algierskiego“ o zachodzie słońca.

Besnard tworzy oczywiście szkołę. Ma mnóstwo naśladowców, niewielu jednakże szczęśliwych. Ostrzeżeniem powinny być dla nich obrazy *La Touch'a*, który zapożyczył od Besnarda wyuzdany koloryt, ale niestety, płótno jego cechuje wzgardliwa niedbałość o rysunek i wszelki brak plastyki. Widać to w jego „Apoteozie Watteau“ i „Czterech porach roku“.

Carrière wystawił w tym roku wielkie płótno, przedstawiające „Wnętrze teatru Belleville“ podczas przedstawienia popularnego. Poważny ten malarz znany jest jako znakomity kolorysta i doskonały obserwator. Jest on malarzem uczuć i wzruszeń, które oddaje nie za pomocą oderwanych symbolów, lecz za pomocą trafnie charakteryzowanych szczegółów mimicznych, ruchów i gestów, składających nastrój wewnętrzny. Ma on jednę osobliwość, którą uważano za dziwactwo, ale która zdaje się być wynikiem optycznej właściwości malarza. Carrière widzi powietrze i maluje je w postaci subtelnych obłoczków białoniebieskawego dymu, otaczającego wszystkie postacie i przedmioty na jego obrazach; nie razi to bynajmniej, ale owszem, nadaje jego malowidłom pewien mistyczny urok. W obecnie wystawionym obrazie Carrière przedstawia syntentycznie wzruszenie niewybrednej publiczności przedmieścia podczas jakiejś przejmującej sceny w teatrze. Widzimy

---

— Nie! — rzekł Pauli, potrząsając głową. Wziął gazetę do ręki i z udanem zajęciem czytać począł.

— Z bozką pomocą i to przyjdzie — ciągnął dalej Bergström — mogę panu w każdym razie zmiany poglądów powinszować; po długiem badaniu dopiero teraz dotarł pan do prawdy, teraz dopiero dawniejsze poznajesz błędy. I to dzięki Nörgaardowi, nowemu prorokowi, którym pogardzałeś przedtem. Czyż nie mam słuszności? wszak przychodzi on teraz do państwa?

— Tak, przychodzi — odparł Pauli grzecznie, wzroku nie odwracając od gazety.

— Domyślałem się — rzekł Bergström, coraz więcej wzburzony — podniosły zaprawdę widok: dr. Pauli u nóg misyonarza ludowego, w twarz jego, od Boga natchnioną, wpatrzony, wsłuchany w każde słowo z ust jego wychodzące! A z nowej tej konstelacyi gwiazd na polu nauki, jak bogate żniwo duńskiej umiejętności przypadnie w udziale! Pan poucza go o Spinozie, on zaś błędy pańskie w znakach pisarskich poprawia, przy takiej wspólnej wymianie usług jak znakomite dzieła ukazać się mogą! tak pod względem przejrzystości i jasności ducha, jak i interpunkcyi!... Z całego serca winszuję!

— Bardzo możebne! — odparł tym samym spokojnym głosem Pauli.

— Co mnie jednak, prawdę powiedziawszy, najwięcej dziwi — zaczął znowu Bergström — to owa swoboda, z jaką pan członków rodziny swej, że tak powiem, zamienia. Do licha! trzeba przecież niezwykłego sumienia, ażeby tak s a n s f a ç o n przybrać nowego zięcia a danego odrzucić, jak kucharkę... Z zupełnie przedmiotowego stanowiska sądząc, czy ma pan pewność, że... że Engelke... przerwał, czując, że wargi mu drżą przy wymawianiu jej imienia, że Engelke równie ze zmiany tej zadowolona? Lecz to zapewnie mało pana obchodzi — ciągnął dalej, widząc że Pauli nic nie odpowiada... Nie wiem, po co pan tę gazetę przed sobą trzyma, czy żeby mnie drażnić?

— Bynajmniej — odrzekł Pauli, odkładając gazetę; przymuszony uśmiech znikł nagle z jego twarzy, ściągnął brwi i tonem lekkiej skargi zaczął:

— Drogi Bergström, oto całą złość swą na mnie wywarłeś, nie oszczędzałeś mnie pan bynajmniej, chociaż jestem starcem a pan człowiekiem młodym, ale mniejsza o to, nie umrę z tego zapewnie; w życiu mem już gorsze przechodziłem chwile. A zresztą mógłbym był wstać i odejść, sądziłem jednak, że lepiej będzie, jeśli do wyjaśnienia jakiegoś między nami przyjdzie, dla tego pozwoliłem panu mówić. Niewyjaśnione stosunki bywają źródłem plotek, nieporozumień — a wie pan dobrze, jak chętnie chciałbym tego uniknąć. — A więc cóż właściwie chciałbyś wiedzieć? Przypuszcza pan, że córka moja zaręczoną jest z Nörgaardem? Otóż, zapewniam pana, że z nim zaręczoną nie jest.

— Ale to zapewnie niedługo nastąpi? — spytał Bergström, nagłym ruchem przechylając się ku mówiącemu.

Pauli spojrzał nań z uśmiechem.

— Czy to nastąpi? — powtórzył — może być. Chciałbym zupełnie być z panem szczerym, — otóż przyznam się, że nie uważam tego za niemożebne.

I może pan z całym spokojem o tem mówić?

Pauli wzruszył ramionami.

— Czy wie pan, co to za człowiek?

— Mój drogi, nie bądźmy sentymentalni! — rzekł doktór, podnosząc rękę — znam stosunki Nörgaarda tak dobrze zapewnie jak ty!

— I mimo to?

Po ustach doktora przewinął się uśmiech ironiczny.

— Mój kochany, miałem cię zawsze za człowieka dość rozsądnego, lecz nierozumnie to z twej strony — przepraszam, ze strony pana, zapomniałem, że mówimy sobie „pan“ — że chcesz tu mówić o moralności Nörgaarda. Alez, na miłość boską nie mów pan o tem. Wiem, co zamierzasz teraz powiedzieć, i muszę pana uprzedzić, że Nörgaard, jak wiesz zresztą — nie jest mi szczególnie sympatycznym. Jest dla mnie trochę trywialnym: to proklamowanie moralności po ulicach jest niesmaczne, — zwłasz-

na płótnie tylko część sali teatralnej: balkon i galeryę; sceny nie widać wcale. Cała sala zresztą pogrążona jest w półcieniu, w którym widz zaledwie rozróżnia kształty i gesta; gdzieniegdzie zaś twarze, miejscami brutalnie wydobyte nad światło, częścią zaś w zupełnej pogrążone ciemności.

Carrière jest mistrzem w odtwarzaniu efektów tego rodzaju oświetlenia. Zresztą główny plan obrazu kreślony jest pewną ręką, tak iż charakter całej sceny oddany z dostateczną wyrazistością, pomimo niezmiernych trudności, jakie nastręczały warunki oświetlenia. Jakiś mężczyzna siedzący skurczył prawą rękę wsuniętą pod lewe ramię i wytęża wzrok; za nim kobieta konwulsyjnie składa obie ręce; inni w tłoku opierają się o filary; inni ściskają je kurczowo. I w całym szeregu tych trafnych obserwacyi jest stopniowanie prawdziwie dramatyczne i bardzo zajmujące. Wszystko zresztą zdradza, że cała ta publiczność zatopiona jest w scenie, której się przypatruje i zapomniawszy na chwilę o zwykłych swych troskach, o nędzy życia, które ją przygniata, nieświadomie oddaje się sztucznie wywołanym wzruszeniom; rzeczywistość zamienia się w złudzenie. Dziwny to obraz, nie mający nic wspólnego z szablonową techniką malarską i dla tego pozostawiający dosyć materyału do krytyki, ale zarazem jakąś głębszą filozofią tchnący. Nordau powiada, że Carrière namalował głęboką naukę Buddy o Maji — i Nirwanie: szkoda tylko, że otoczył ją tak gęstą mgłą, że nawet oko wtajemniczonego nie zupełnie ją przenika.

W liczbie mniejszych płócień, nacechowanych indywidualnością i osobistym temperamentem artystycznym, wymienimy przedewszystkiem „Sen“ *Collota*. Artysta ten z wielkiem upodobaniem i talentem maluje ciała. Wytworny rysunek nie ma w sobie nic pedantycznego: sposób malowania jędrny, a zarazem subtelny. Po mistrzowsku oddaje kontrast ciała białego, przypominającego perłową macicę i ciał śniadych o gorących tonach. Stara się być dokładnym i ścisłym, a równocześnie poetycznym. W odtwarzaniu nagości kobiecych jest zmysłowym i jak nikt inny, oddaje pociągającą świeżość i powab nagiego ciała, ale nie posuwa się nigdy do rozpusty i przewrotności; jego zmysłowość jest męzką i szczerą. Wszystkie te cechy doskonale uwydatniają się w jedynym wystawionym obecnie obrazie Collota. Na zielonej darni leżą miękko, śpiące jedna obok drugiej, dwie kobiety o ciałach lekkich i eterycznych. Lica śpiących dotykają się wzajemnie, oddech się miesza: jedna o płci białej, druga o karnacyi śniadej. Są to cuda wdzięku w różowych tonach ich lic, w modelowaniu ramion i w tych błękitnych żyłkach ledwie dostrzegalnych pod skórą, zwłaszcza na piersiach dziewczyny o płci białej.

Zupełnie odrębny ma charakter oryginalny obraz *Azy-Renana* p. t. „Ćma“ (*Phalène*), — obraz bolesny, pociągający i pełen takiego napięcia myśli, jakie malarstwo rzadko kiedy zdolnem jest znieść, nie narażając malarza na przykry zawód. Przygoda ćmy nocnej, która zbudzona światłem lampy ze snu, tłucze się o szybę, jest rzeczą banalną, znaną wszystkim. Azy-Renan w dramatyczny i oryginalny sposób zastosował ją do życia ludzkiego. Jego ćma jest kobietą wychudłą i zasmuconą: zbudzona tą olśniewającą wesołością, jaką młodość roztacza dokoła, z martwoty, w którą pogrążyły ją smutki życiowe, ona tak jak owa ćma nocna, rzuca się do szyby i widzi w niej, jak w zwierciedle, swą własną postać, — i cofa się przerażona widmem, które ujrzała. Alegorya jest nowa i będzie się podobała. Artyści cenią nadewszystko technikę obrazu; ogół publiczności ocenił, że całość odznacza się zupełną pięknością, jaką Azy-Renan osiągnął poraz pierwszy.

Od tego psychologicznego nerwowego obrazu, jakże wielki przeskok do czysto malowniczych, harmonią tchnących obrazów *Lucyana Simona!* Jest to również jeden z młodych, który na tegorocznej wystawie silnie zaznaczył swą indywidualność. I każdy prawie ze zwiedzających wystawę zwraca uwagę na jego wielkie płótno, nazwane „Muzyką“, które istotnie przedstawia potężną a subtelną symfonię barw. W parku nad brzegiem wody siedząc na zielonej kozetce w stylu Ludwika XIV, młoda kobieta w bladoróżowej sukni gra na skrzypcach, zatopiona w swej grze: obok niej na ławce, leżą róże herbaciane. Vis-a-vis siedzi na krześle zamyślony mężczyzna i słucha. Nieopodal oparty o drzewo młodzieniec o marzących oczach, słucha także. Scenę oświetla szare światło chylącego się ku schyłkowi dnia. Mnogość barw zlewa się w jedną piękną i poważną symfonię, w której przeważają tony zielone i niebieskie, doskonale harmonizujące ze smętnym kolorytem nieba, wody i obłoków.

W zakresie *portretu, pejzażu i obrazów rodzajowych* francuska część wystawy nie przedstawia nic szczególnie wybitnego. Działy te mają za to znakomitych przedstawicieli pośród malarzy szkół obcych. Wogóle obce szkoły w salonie na polu Marsowem robią w tym roku wielką konkurencyą Francuzom; prawie powiedzieć można, że zawstydzają francuskie malarstwo.

Ażeby dać ogólne pojęcie o malarstwie zagranicznem, o ile reprezentowanem jest w tym Salonie, rozróżniamy przedewszystkiem trzy główne kierunki: *angielski, amerykański i flamandzki.*

Malarstwo angielskie można podzielić jeszcze na dwie szkoły: szkołę *Burne-Jones'a* i szkocką. Pierwsza przedstawia szczątki niedawno jeszcze tak modnego prerafaelizmu; ma kierunek poważny i więcej od innych szkół dba o stronę etyczną. Podobnie jak Puvis-de-Chavannes naśladuje stare średniowieczne freski z ich poetycznym, przyćmionym i wyblakłym kolorytem, tak Burne-Jores naśladuje malarzy XV wieku, mianowicie rysunek twarzy Bottieelli'ego i przyżółkłe od starości, szarawe tony ciała, jakie widzimy dzisiaj na obrazach Lionarda, co pewnemu recenzentowi nasunęło złośliwą uwagę, z postaci jego obrazów wyglądają tak, jakby długo leżały w grobie i świeżo je z trumien wydobyto. Pomimo tego zmanierowanego stylu, niepozbawionego zresztą szlachetności; Burne-Jores nie przestaje być pierwszorzędnym artystą. Znać to w tegorocznym jego obrazie alegorycznym p. t. „Miłość w ruinach“, w którym przedstawia dwoje młodych ludzi, siedzących obok siebie na ławce pośród marmurowych szczątków jakiejś ruiny, oboje mają wydatne bródki, wązkie wzgardliwe wargi i dumne czoła według wzorów Botticellego. Ogólny to obraz, głębiej obmyślona kompozycya, rysunek i mnóstwo szczegółów zdradza prawdziwego mistrza.

Do tej samej szkoły zalicza się poniekąd *Welden-Hawkins*, stale mieszkający w Paryżu, artysta o niepospolitym oryginalnym talencie, ale pozostający stanowczo pod wpływem maniery Burne-Jores'a. Zajmuje on w nowożytnem malarstwie takie same stanowisko, jakie symboliści zajmują we współczesnej literaturze. Maluje symbole, które tłumaczą jego przyjaciele z „*Revue-Blanche*“, a estetyka jego zbliża się do parodoksalnej estetyki Oskara Wilde, będącej skrajną reakcyą przeciwko naturalizmowi w sztuce. Złośliwie impertynencki Nordau powiada o nim, że dotknięty jest szczególniejszym rodzajem doltonizmu, wszystkie bowiem barwy przedstawiają mu się w szarożółtych i złoto-brunatnych tonach.

Powszechną uwagę zwraca jego symboliczny obraz, przedstawiający młodą kobietę o pysznym obnażonym torsie, pożądliwie i szatańsko uśmiechniętą; lewe ramię ślicznie utoczone, przykrywa pierś, a prawą ręką potrząsa maryonetki zawieszone na nitce; ramę tworzą węże, wypełzające z ust demonicznej maski kobiecej. Jako motto podpisany jest u dołu śliczny wiersz Baudelaire'a:

„Que tu viennes du ciel ou de l'enfer, qu'importe, O Beauté! Monstre énorme, effrayant, ingénu,

---

cza, że towar ten, jak u nas, niezupełnie świeży. Zapewniam pana jednak, że to u niego minie, znudzi go prędzej czy później: to tylko młodzieńczy przemijający zapał, chęć błyszczenia przed światem i pokazania mu własnego, samodzielnie wywalczonego stanowiska — jak to się zwykło nazywać. Ale to przeminie. Pan także zna ten zapał zapewnie, ja także go przechodziłem, wszyscy nim jakiś czas przejęci jesteśmy, a potem się uspakajamy... A Nörgaard z dobrego jest materyału, z trwałego raczej; należy on do ludzi, którym w życiu dobrze się wiedzie: ma energią i jest gruboskórny. Ma on w sobie coś z hebla grubo strugającego, w niczem zaś nie przypomina delikatnego pilnika... Lecz w naszych czasach więcej przydatnym jest hebel właśnie — pilnik należy do przeszłości...

— Wyobrażam sobie — rzekł na to Bergström — że Engelke niezmiernie z tego zadowoloną być musi, że jej przyszły mąż tak panu przypadł do gustu... hebel, to coś zupełnie dla niej stósownego.

Pauli gniewnie brwi ściągnął.

— Ależ musi pan wiedzieć, że Engelke sama go wezwała, nikt inny!

— Co... ona?

— Tak, posłuchaj pan: po ostatniej sprzeczce, jaką mieliście ze sobą w mieszkaniu pańskiem, Engelke, przyszedłszy do domu, natychmiast napisała do Nörgaarda list z zapytaniem, czy nie zechciałby przyjść do niej.

Bergström osłupiałym wzrokiem spojrzał na mówiącego.

— Ależ, to niemożebne! nie wierzę temu — rzekł po chwili.

Pauli śmiał się.

— A zawdzięczasz pan to sobie samemu i tylko sobie — rzekł. — Nie wiem, rozumie się, co tam między wami zajść mogło — ona nigdy nie zwierza się przedemną — widocznie jednak nie czuła się tem zbudowaną, skoro tak postąpiła następnie.

Nastało dłuższe milczenie. Pauli spoglądając na swego sąsiada, ukradkiem się uśmiechał.

Bergström siedział milczący, ponury, a fala myśli przepływała mu przez głowę, przynosząc zapytania i refleksye coraz nowe...

— Czyż możebne, ażeby wysłanie listu do Nörgaarda bez pańskiego obeszło się udziału? — rzekł w końcu.

Pauli z oburzeniem spojrzał na mówiącego.

— Czyś pan zmysły postradał? ja miałbym... ów list wysyłać? nie! jesteś w błędzie!... w grubym błędzie....

Dla czegożby nie?

Pauli ruch gniewny ręką uczynił.

— To najmniejszego nie ma sensu! — ja, który list ten za największe pod słońcem uważam szaleństwo! Wie pan, co list zawierał?

— Nie wiem!

— Napisała do niego, że to ona wówczas informowała pastora w Söllerup! do wszystkiego jednem słowem, do wszystkiego się przyznała!

— Czy być może!

— Doniosła mu, że czuje się główną winowajczynią w całym skandalu ztąd wynikłym, że tylko z jej winy nie został on posłem do parlamentu itd. itd. Cóż pan na to?

Bergström pogardliwie spojrzał na mówiącego.

— Cóż dalej? — spytał.

— No, po wszystkiem tem, rozumie się, że Nörgaard przyszedł w kilka dni po otrzymaniu listu.

Zamilkł. Kilka razy przetarł twarz ręką dla ukrycia uśmiechu, lecz mu się nie udało; śmiejąc się rzekł potem do Bergströma tonem nieco poufałym:

— Szkoda, że nie mogłeś pan widzieć go w tej chwili, gdy do nas pierwszy raz przyszedł: sztywny, surowy, pełen godności, z miną męczennika niesłusznie prześladowanego wyglądał arcykomicznie! Twarz jego przypominała owe niezręczne rysunki przez uczniów bezmyślnie kreślone, wie pan? Z niedającą opisać się uroczystością wywodzić począł swoje jeremiady, że pewna bliska mi osoba, rzuciła na niego potwarz niegodną, oczerniła go niesłusznie itd. itd. Przypadek chciał, że właśnie niedawno przedtem otrzymałem dokładne informacye o jego stosunkach, może więc pan wyobrazić sobie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Si ton oeuil, ton souris, ton pied m'ouvrent la porte D'un infini que j'aime et n'ai jamais connu".

Nie mniejszą sensacyę zrobił portret pani Séverine, znanej publicystki o rewolucyjnych dążnościach, którą Harkins przedstawił bardzo pochlebnie na złotem tle, z wyrazem ekstazy w twarzy. Jako obraz-płótno niepospolite; jako portret-przesadne i wymuszone.

Z francuskich malarzy, zbliżających się do prerafaelizmu angielskiego należy wymienić *Aman-Jean'a*, wytwornego i subtelnego artystę o melancholijnym nastroju. Wdzięk poetyczny cokolwiek chorobliwy, cechujący jego obrazy, czyni jego artystyczną indywidualność bardzo interesującą. Nazwano go malarzem opadających liści, zmierzchów i pociemniałych gobelinów. W nowszych pracach osiągnął więcej siły i plastyki, co wyszło mu na dobre. Jako portrecista dowiódł zresztą w dawniejszych już portretach Juliusza Care, Verlaine'a i innych, że umie odczuwać współczesne fizyognomie. W każdym razie należy go zaliczyć do liczby niewielu wybitnych i oryginalnych portrecistów francuskich. Dowodem tego i w tym roku wystawione dwa jego portrety: mężczyzny i kobiety.

Zdrowy, silny prąd ożywia szkołę *szkocką;* dba ona jedynie o prawdę życiową i szuka wielkich naturalnych efektów kolorytu, i to nie bezpowodzenia; odznacza się szczególnie w zakresie portretu i pejzażu. W pierwszym celuje *Guthrie*, który wystawił dwa znakomite portrety; w drugim — Camerou, posiadający jako pejzażysta — mistrzowskie zacięcie.

Ze szkół *flamandzkich* Belgijczycy mają znakomitych pejzażystów, pomiędzy którymi odznacza się *Frantz Courtens*, przypominający w swych przerzedzonych lasach, polankach, zaroślach — szalone uniesienia Courbeta.

Na czele malarzy holenderskich stoi *Józef Isrëls*, który w swych obrazach rodzajowych z wielką ekspresyą i ze szczerem współczuciem maluje biedę i nędzę. Takim jest jego „Proletaryusz" i „Pracownik morza."

Zbliża się do niego cokolwiek także Bawarczyk *Uhde*, znany ze swych scen ewangielicznych, odtworzonych ze szczerem i głębokiem uczuciem religijnem. Wystawił w tym roku wspaniałe wielkie płótno, zwracające powszechną uwagę: „Droga do grobu", które ma tę jedynie wadę, że zanadto przypomina „Złożenie do grobu" Tycyana.

Danja ma za przedstawiciela *Kroyera*, który wystawił wielki pejzaż; „Wieczór nad Skagenem", odznaczający się nietylko technicznem wykończeniem i wytwornością, ale zarazem harmonią, delikatnością tonów i trafn., a subtelną obserwacyą przyrody; i co najważniejsza, z płótna tego przemawia dusza pejzażu, a więc nastrój udzielający się widzom.

Nie naturalista odtworzył te zewnętrzne szczegóły widoku na wybrzeżu morskiem, ale malarz-poeta zaklął w barwy łagodną, kojącą harmonię pogodnego letniego wieczora, rozlewającego dziwny urok pomiędzy bezmierną zlekka falującą powierzchnią morza, a czystym błękitem nieba.

Malarstwo *amerykańskie* celuje głównie w obrazach rodzajowych, zakrawających niekiedy na epopeje, i w dziale portretu. Wspomnijmy tylko o bardzo udatnym portrecie Józefa Hofmana, pędzla *Shounona*. Portrecista ten według modnej dzisiaj metody pogrąża całą postać w sztucznym półcieniu, przypominającym sposób malowania Carriére'a; tylko że u Carriére'a jest to szczerą wizyą atmosfery, tutaj zaś czysto technicznicznym środkiem dla wywołania sztucznego efektu. Shounon używa środka tego zręcznie, a zarazem roztropnie i umiarkowanie — i przyznać trzeba, że blada twarz Hofmana i ręce, spoczywające na klawiaturze, bardzo efektownie wy obywają się z półcienia. Portret robi wrażenie.

Na zakończenie jeszcze o jednym portrecie słów parę. Sara Bernhard ma co rok swój portret w salonie. Tym razem malował ją hiszpański malarz, mieszkający w Paryżu *Antonio de la Gandara*, który prześcignął samego siebie. Artysta przedstawił sławną aktorkę z tyłu, uwydatniając linię stanu, a z twarzy ukazując słaby tylko profil, bardzo schlebianego rysunku. Wysmukła postać twarzy w białej przylegającej sukni, bardzo ładnie wydobywa się z ciemnego zupełnie tła.

Hawkins i Gandara dali dwa nie najwierniejsze, ale najefektowniejsze wizerunki kobiet współczesnych. *L. S.*

FACHOWIEC.

Powieść współczesna Wacława Berenta. Warszawa 1895.

Powieść tę spotkała bardzo pochlebna krytyka w warszawskich czasopismach i rzeczywiście zasługuje ona na nią w zupełności ze względu na piękność swoją jako utwór literacki. Tu chcemy o niej pomówić z innego punktu widzenia, dla nas bowiem jest ona przedewszystkiem dokumentem historycznym. przyczynkiem do naszej historyi ostatnich lat trzydziestu. Oto treść powieści w najgrubszym zarysie: Kazimierz Zaliwski pochodzi ze sfery szlacheckiej, prawdopodobnie syn zubożałej rodziny ziemiańskiej. Został sierotą i wcześnie myśleć musiał o sobie i młodym braciszku. Naturalnie przedewszystkiem uważał za konieczne skończyć szkołę, i mordując się, nadrywając siły dziecięce dowlókł się do ósmej klasy gimnazyalnej, żyjąc z groszowych lekcyi, tak zwanych w Warszawie korepetycyi. Po otrzymaniu „patentu dojrzałości" trzeba było wybrać jakiś zawód; poszedł więc do fabryki, został fachowcem, prostym robotnikiem, marząc na przyszłość o dźwiganiu przemysłu polskiego, o zbliżeniu się do ludu, no i o stanowisku, które mu zapewni byt i pozwoli wychować młodszego brata. Poszedł i zawiódł się. Fachowcem został, ale dźwiganie przemysłu polskiego, na tem się skończyło, że dorabia jakiegoś tam spekulanta; do roboczego ludu nie zbliżył się, bo wnioskując z końca powieści został majstrem, vulgo „poganiaczem bydła roboczego", jak trafnie acz grubiańsko ci panowie w fabrykach określają sami swoje stanowisko; no a posada dyrektorska ominęła go, bo ten chłopiec o czułej duszy właśnie jak najmniej nadawał się do fachu.

Otóż takich Zaliwskich mamy w Kongresówce dziesiątki, może setki nawet. Ciekawe, poco oni tak poszli marnować się? Rzecz miała się tak. Ci ludzie byli młodymi w czasie, kiedy w Warszawie głosem trąby rozlegały się nawoływania do „pracy organicznej", kiedy na scenie teatru pan inżynier był najsympatyczniejszą figurą; kiedy nasi poeci wyśpiewywali „nowe Credo", kiedy maszyna była dla nich najmilszą czarodziejką, a huk młotów przekładali nad dźwięki pobudki i pieśń słowiczą. Jeżeli dziś zastanowimy się nad tym programem pracy organicznej, to z postrzępionych jego draperyi wyziera trupia twarz. Mieszczańskie „enrichez vous!" oto treść tego programu. Naturalnie, wyraźnie tego nie powiedziano, owe hasło burżuazyjne ubrano w cały arsenał ideologicznych dodatków zatopiono w powodzi frazesów. Toż tam był i patryotyzm, chodziło przecież o przemysł polski; były idee postępowe, starą biblię zastąpiono księgami Darwina, Haeckla, Büchnera; był demokratyzm, — używano do pozbycia się naleciałości szlacheckich. Ale w końcu na tem się skończyło, że zbankrutowana szlachta szukała i znalazła sobie miejsce w nowych warunkach społecznych i z właścicieli dusz chłopskich poddańczych zamieniła się powoli w burżuazyę wielką i drobną, jak na co kogo było stać. Dziś mamy Wokólskich i Połanieckich, kupczących majątkami lub robiących majątki na dostawach dla wojska. Zawsze mnie zaciekawia, czy taki Wokólski sprzedawał zawsze rzeczywiście świeży owies, i czy taki Połaniecki cofnąłby się przed lukratywnym interesikiem w rodzaju owego pobożnego banku pana Saccard z „L'argent". — Mamy też i handlarzy bielizny, mięsa, pieczywa z nazwiskami na „ski". Mamy i chwalić Pana Boga za to. Ale gdy sobie pomyślę, że ta nowa burżuazya polska wyrosła na glebie użyźnionej zmarnowanemi siłami takich Zaliwskich, to żal mnie bierze serdeczny. Ci nasi fachowcy rzeczywiście drogo opłacili marzenia swoje, czego najlepszym dowodem jest bohater p. Berenta. Posiada on żywą, wrażliwą, płomienistą duszę, pała rządzą oddania swoich młodych sił na usługi swego społeczeństwa, i oto dokoła siebie słyszy frazesy o „pracy organicznej", o „pracy u podstaw", o „trzeźwym liczeniu się z warunkami".

Frazesy te powtarza mu jego „protektor", spekulant i właściciel fabryki p. Kwaśniewski i studenci znajomi pisujący artykuły do „Postępu", a nawet panna Helena, która sama również ma zamiar w przyszłości „pracować praktycznie" i to bardzo praktycznie, a tymczasem czyta „Teoryę poznania" Wundta i powiada, że to jest „dobra rzecz". Wszyscy ci dobrzy ludzie rozprawiają o tem, a tymczasem czytują „dobre rzeczy" i „Postęp". Zaliwskiemu to nie wystarczyło. Znać gorętszą miał duszę i zabrał się do przetapiania owych myśli w czynów stal. Wskazano mu fabrykę mówiąc: „oto najlepsza szkoła dla młodzieży, oto najlepsza politechnika, najszczytniejszy uniwersytet". Poszedł tedy do fabryki. Łatwo to powiedzieć, ale żeby ocenić co to jest fabryka, trzeba ją poznać bardzo z blizka. Fabryka to jest mechanizm do przerabiania siły mózgowej, nerwowej i mięśniowej na „nadwartość", mechanizm doskonały, w którym wszystko ma wyznaczone sobie miejsce. Prócz materyału nieożywionego, maszyn, materyału surowego, materyałów pomocniczych, trzeba tam materyału żywego — rąk i głów. Rąk potrzeba dużo, głów mało. Głowy te siedzą w biórze, głowy tęgie, wyszkolone, pozbawione marzeń niedorzecznych i snów, ale kalkulujące i konstruujące z matematyczną dokładnością.

Pomiędzy owemi głowami i rękami istnieje łącznik pewien. Jest to osobnik wcielający oczy, uszy i kułak. Dusza mu nie potrzebna, ma on widzieć, słyszeć, rozkazywać i poganiać owe ręce, w czem dusza byłaby niepotrzebną zawadą. Otóż z naszego Zaliwskiego postanowiono zrobić taki ważny bardzo organ fabryczny. Więc naprzód wyciągano z niego duszę. W tym celu postanowiono go do jakiejś heblarki. Taka heblarka żelazna jest doskonałym do tego narzędziem: wypija ona duszę kroplę po kropli, jak wampir w bajce krew wysysa. Ten proces zabijania młodej ognistej duszy przedstawił nam p. Berent z okrutną prawdomównością. Jego bohater traci stopniowo zapał, fantazyę, potem czułość, potem ambicyę, staje się brutalnym, tępym, płaskim, i w chwili, kiedy go autor opuszcza, jest już wcale nie ciekawym okazem rodzaju h o m o s a p i e n s, a w dodatku, sądząc z tego, jak go traktuje „pracodawca", jest wcale nieszczególnym majstrem, co nas zadziwiać nie powinno, gdyż na „poganiacza bydła" trzeba ludzi innego rodzaju niż on. Naturalnie panowie pisujący do „Postępu" odwrócili się od niego; bo też co oni mogli mieć z nim teraz wspólnego. Odwróciła się też panna Helena, która najpewniej celu swego nie dopięła. Pozostał Zaliwskiemu jeden tylko przyjaciel, robotnik Andrzej. Z całego kalejdoskopu typów, jaki dla bacznego obserwatora przedstawia klasa robotnicza, p. Berent wybrał typ charakterystyczny czysto warszawski, jak zresztą wszystkie jego postacie są nieodrodnemi dziećmi Warszawy. Ten Andrzej to robotnik nie głupi, i on ma duszę ognistą, ale drzemiącą pod powłoką kurzu, sadzy, brudu fabrycznego, ale niezłamaną, niezwichniętą niczem, i to mu daje przewagę w życiu, jako osobnikowi lepiej zastosowanemu do warunków. Tak na przykład kiedy biednego Zaliwskiego znieważył pan fabrykant, on biedny umie tylko płakać i dusić się wściekłością. Andrzej zaś, dowiedziawszy się o tem, nie rozumował długo, poszedł najspokojniej w świecie i „sprał" pana fabrykanta. Za to posiedział w kozie, co przyjął jako bardzo naturalną i logiczną konsekwencyę.

Na zachodzie z takich Andrzejów powstawali fachowcy, majstrowie fabryczni. My musieliśmy na to oddać Zaliwskich i dla tego są oni minusami w budżecie rezultatów pracy organicznej. Dobrze, że p. Berent zaznaczył ten minus wobec takich plusów jak Wokólski i Połaniecki, których nasi poeci uważali za bohaterów godnych swego pióra.

Spieszę jednakże zastrzedz się: Utwór pana Berenta jest powieścią, jest utworem poe-

tęckim, a nie rozprawą, i to, co powiedzieliśmy powyżej, można tylko z powieści wywnioskować, nie wyczytać. Czynimy to zastrzeżenie dla tego, żeby ci, co nie znają powieści, nie powzięli przekonania, że jest to „robota“, gdzie na każdym kroku szydło tendencyi wychodzi z worka. Może nawet pan Berent, pisząc swoją powieść, zupełnie nie to miał na oku. Tem lepiej dla niego, jeżeli każdemu z czytelników nasuwa się przedewszystkiem inna strona jego utworu, jako rzecz najgodniejsza uwagi. W każdym razie poza ową stroną społeczną powieści są tam prawdziwe perełki w opisach. Świetnym n. p jest opis mechanizmu fabrycznego, świetnym opis pożaru fabryki. Przepyszni są ci młodzi prowodyrzy opinii publicznej, zmieniający poglądy i przekonania jak rękawiczki; doskonali również są cyniczni praktycy, co w handelku fetują młodego fachowca, drwiąc w duszy rok rocznie z wszelkiej ideologii, gdyż wiedzą doskonale, że w gruncie rzeczy chodzi tylko o nabicie kieszeni. A już wprost wysoce dramatyczną jest scena, kiedy Zaliwski złamany, zrozpaczony życiem spaczonem, daje odprawę tym gadułom, co przyczynili się do jego klęski, a teraz z równą bezmyślnością gadają mu o najnowszej seryi swoich przekonań i poglądów. Wogóle piękności baczny czytelnik znajdzie tu wiele, co już inni lepiej od nas wyrazili. Pozostaje nam tylko wraz z nimi podziękować panu Berentowi za dostarczoną przyjemność artystyczną i powinszować mu tej pierwszej powieści.

-ski.

Tomasz Henryk Huxley.

(Dokończenie.)

Do 1859 roku Huxley był specyalistą. Sam on powiada, że już w 1850 roku porzucił on „Kosmogonię pięciora ksiąg“. W studyum, jakie Huxley zrobił nad filozofem angielskim z XVIII wieku, Dawidem Hume'm, bardzo dokładnie możemy prześledzić wpływ Kartezyusza na dojrzewającego uczonego. Tem niemniej do pozytywnych wniosków Huxley nie doszedł przed pojawieniem się wiekopomnego dzieła „O powstawaniu gatunków“. Dzieło to — mówi Huxley — było Kolumbowem jajkiem dla mnie. Od 1860 roku Huxley bierze broń do ręki i staje jako szermierz teoryi ewolucyi. W Oxfordzie staje on do walki z biskupem Wilberforce; sala przypatrywała się turniejowi z powstrzymanym oddechem. Ciężka atmosfera tradycyjnych poglądów zaciążyła nad zgromadzeniem; zdawało się, że ewolucyoniści nie zdołają nawet przeniknąć do mózgów słuchaczy. Gdy wszakże z ust Huxley'a zaczęły ulatywać jasne i spokojne słowa, streszczające tyle badań i tyle prawdy, obłoki się rozpraszały, jakby przeszyte promieniami świetlnemi. Mnóstwo chmur, naładowanych tradycyjnem veto, ulatywało w górę, ścigane przez gorącą wymowę apostoła ewolucyi. Powoli atmosfera się zmieniła, a gdy na ustach mówcy konały ostatnie słowa obrony, w głowach słuchaczy rodziły się nowe myśli i nowe poglądy na „stanowisko człowieka w przyrodzie“.

„Ludzie skarżą się — pisał Darwin do Huxley'a — na nierówny podział bogactw, ale jest to daleko większą krzywdą i wstydem, jeżeli jeden człowiek może napisać tyle świetnych prac, ile pan ostatnimi czasy napisałeś“. Moglibyśmy dodać do tych słów Darwina, że prócz może kilku zawistnych nikt się nie skarży na to bogactwo geniuszu Huxley'owskiego, a ludzkość w nim nie wstyd jeno źródło ożywcze widzi i widzieć będzie.

Zwycięztwo to nie zaspokoiło Huxley'a. „Wrażliwy i energiczny temperament“ odziedziczony po matce kazał mu dalej walczyć. Przejęty wielkością znaczenia teoryi ewolucyjnej, szermierz z natury, apostoł niejako z powołania, Huxley postanowił zaznajomić cały naród ze zdobyczami wiedzy. W tym celu zorganizował on szereg wykładów popularnych dla klasy pracującej. Odczyty te, znane pod nazwą odczytów na Jermyn ulicy, stały się punktem wyjścia dla zorganizowanej oświaty ludowej, która nigdzie nie doszła do takich rozmiarów jak w Anglii. W ten sposób Huxley spopularyzował naukę jak nikt dotychczas tego zdziałać nie umiał. Zapał, prostota i logika uczyniły zeń największego popularyzatora. „Świeckie kazania“ Huxley'a są dziś własnością narodową: żadna książka nie zdziałała tyle dla swobodnej myśli w Anglii, co ten zbiór odczytów i artykułów. Później Huxley przeniósł swą działalność apostolską do Szkocyi. Pierwszy odczyt jego miał się odbyć w kościele jednego z niepaństwowych odłamów protestantyzmu. Cała religijna Szkocya była zaniepokojoną; Edymburg wrzał oburzeniem; Glasgow się pienił od fanatyzmu. Co to będzie — pytali się trwożnie wyznawcy prawdy, gdy widzieli jak z zaciemnionych przesądami i ponurych nocą uprzedzenia oczu sypały się złowrogie błyskawice gniewu, nieświadome swego pochodzenia i kierunku. Huxley niestrwożony niczem zjawił się i mówiąc „O kawałku kredy“, odkrywał przed oczami tłumu tysiączne tajemnice przyrody. I w Szkocyi oczy przejrzały, utracając swe powłoki ciemności. Nie ulega dziś wątpliwości żadnej, że Huxley'a można bez najmniejszej przesady nazwać twórcą współczesnego liberalizmu naukowego i politycznego Szkocyi.

Przechodzimy teraz na teren polityczno-społecznej działalności Huxley'a. Pomimo tego, że był on zawsze w walce z kościołem państwowym, że jawnie przyznawał się do agnostycyzmu, zarówno królowa jak i ciała prawodawcze zapraszały Huxley'a do wszystkich niemal komisyi królewskich, w których wskazówki i rady męża nauki były rzeczą konieczną. To też widzimy go w komisyi, badającej choroby zaraźliwe, w komisyi reformującej uniwersytety, w komisyi rybołówstwa, a w 1882 roku Huxley zostaje mianowany inspektorem połowu łososi. W kraju, jak Anglia, gdzie biurokratyzm nigdy nie miał siedliska, czynności administracyjno-społeczne wykonywane są przez ludzi kompetentnych. Daleko ważniejszą wszakże pod względem doniosłości społecznej była działalność Huxley'a na polu reformy szkolnictwa, zagajonej przed 1870 rokiem.

Oprócz Mathew Arnold'a Anglia nie posiadała bardziej wymownego i gorącego zwolennika reformy szkolnej, jakim był Huxley. Jego artykuł o „nihilizmie administracyjnym“, jak on nazwał bierność państwa na polu oświaty, jest jeszcze dziś cytowany jako najdobitniejszy wyraz protestu przeciw anarchii, panującej do dziś dnia w angielskim systemie oświaty narodowej. W 1870 roku przyszła do skutku reforma szkoły ludowej. Nowe prawo, zachowując zasadę samorządu rad szkolnych, tem samem pozostawiło kościół państwowy panem szkół. Zjawiła się zatem potrzeba walki z anglikanizmem; zarówno nonkonformiści (schizmatycy protestanccy), katolicy jak i ludzie innych wyznań podnieśli rokosz przeciw przywilejom jednego wierzenia. Na czele walki stanął Huxley. Wybrany w 1870 roku do londyńskiej rady szkolnej, zmusił on przywilej do złożenia broni; ustanowiony kompromis wprowadza zasadę tolerancyi do szkół ludowych i wyzwala nauczanie z pod wpływu klerykalizmu.

W 1885 roku Huxley znużony walką, której oddał wszystkie siły, składa ze siebie wszystkie urzędy i godności oraz oddaje się pracy cichej. Raz tylko — i to w 1890 roku — Huxley wysunął się naprzód z bronią w ręku przeciw sentymentalnemu przyjęciu, jakiego Armia Zbawienia doznała ze strony klas posiadających. Nie ulega wątpliwości żadnej, że „armia zbawienia“ ma tylko szkodliwy wpływ na rozwój umysłowości warstw biednych; powodzenie wszakże tej armii mistyków i szalbierzy nie jest wyłącznie płodem przesądu. Warunki społeczne, przy których morze nędzy rozlewa się po kraju, pędzone siłą niekontrolowaną i nieujętą przez porządek państwowy, sprzyjają zagnieżdżeniu się mistycyzmu bałamutnego. Jasnem jest, że z punktu widzenia naukowego Huxley ma słuszność, chłoszcząc poglądy Rousseau'a lub metafizykę praw naturalnych; niemniej błądzi on wtedy, gdy obecne fermy współżycia chce ująć w skrzepłą i wieczną skorupę. Huxley, ewolucyonista, gdy ma do czynienia z utopiami społecznemi lub z wybrykami demagogów, szukających wywyższenia się przy pomocy czczych deklamacyi o równości ludzkiej, Huxley wpada wtedy w ostateczność, przecząc podstawowym zasadom swego własnego światopoglądu.

Tę samą jednostronność spotykamy u Huxley'a w jego polemice z Gladstonem. Jak wiadomo, w „wielkim starcu“ z Hawarden siedzi obok oportunisty politycznego i zacietrzewiony, fanatyczny teolog. Ztąd walka między Huxley'em a Gladstonem, ztąd niechęć umysłu pozytywnego do mglistych teoryjek polityka. Walka ta wpłynęła zapewne i na to, że Huxley przyłączył się do obozu unionistów. W polityce zresztą, w kuchni parlamentarnej Huxley nigdy nie przyjmował żywego udziału. „Unikałem — mówi Huxley — bardzo starannie politykę, a dziś już za późno (w 1886 r.) dla mnie myśleć o wkroczeniu na to pole, ale gdybym był politykiem, walczyłbym przeciw projektowi home rule*), póki by mi życia starczyło.... Rządzenie krajem według recepty przeciętnego przekonania jest tylko kołową drogą, którą się idzie do djabła...“ Widzimy w tych słowach i wstręt do oportunizmu Gladstone'a i wpływ Hobbes'a, materyalisty i zwolennika określonego rządu z góry.

Porzućmy wszakże to pole najeżone kolcami, by uprzytomnić sobie ostatnie chwile jednego z filarów wiedzy współczesnej.

W marcu b. r. Huxley zachorował na influenzę, po której przyszły zapalenie płuc i zapalenie nerek. Lekarze jednomyślnie podziwiają olympijski spokój, z jakim 70-letni starzec walczył z chorobą w przeciągu kilku miesięcy. W czerwcu zjawiły się oznaki choroby sercowej. Huxley z pogodą umysłu prawie że niezrozumiałą zdał sobie sprawę ze swego położenia. Dnia 29 czerwca o godzinie 3 minut 40 wielkie serce bojownika i apostoła bić przestało; wraz z sercem zastygł olbrzymi mózg, odzwierciadlający sobą poznanie XIX wieku.

Huxley przestał żyć na ziemi; Huxley wiecznie żyć będzie w dziejach ludzkości.

W. Nadolski.

P. S. W 1894 roku rozpoczęto zbiorowe wydawnictwo popularnych prac Huxley'a p. t. „Collected Essays“. Dotychczas ukazało się dziewięć tomów. Cena tomu wynosi 5 szylingów.

*) Prawie wszyscy uczeni angielscy, z wyjątkiem Roscoe i kilku innych, pomimo liberalizmu swego oświadczyli się przeciw home rule. Po części klerykalizm irlandzki i krzykactwo polityków „Zielonej wyspy“ wywołały tę niechęć uczonych do sprawy irlandzkiej.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Sytuacya monetarna i ekonomiczna w roku 1895.

Antwerpia, 7-go sierpnia.

Pod powyższym tytułem ukazała się świeżo w drukarni Lahure w Paryżu nader zajmująca broszura E. Kleinmanna, którego liczne prace w zakresie bankowym cennych nieraz finansistom i ekonomistom dostarczały wskazówek.

E. Kleinmann, obecny administrator „Crédit Lyonnais“, kierował przez czas dłuższy filią olbrzymiej tej instytucyi finansowej w Egipcie, a podróżując przytem wiele, badał na miejscu sytuacyę finansową kraji, w których „Crédit Lyonnais“ posiada swe agencye. Przemawia więc tutaj handlowiec, bankier, który ze sporym zasobem teoryi, długoletnią łączy praktykę.

W świeżej swej publikacyi śledzi autor:

1) modyfikacye dokonane od lat dwudziestu w produkcyi srebra i najprzedniejszych towarów;

2) znaczne rozpowszechnienie maszyn w przemyśle oraz rozprzestrzenienie sieci kolei żelaznych;

3) wzrastającą szybkość i taniość transportów morskich.

I tak wedle zestawień statystycznych, które z dziełka jego czerpiemy, wynosiła:

	w r. 1880	w r. 1893
produkcya srebra ton	2.327	5.030
„ miedzi „	153.959	303.530
„ żelaza stali (Europa) ton	17.518.000	30.321.000
„ zboża ton	52.600.000	67.120.000
„ bawełny ton	1.645.000	2.322.000
dowóz wełny do Europy ton	311.360	567.030
koleje żelazne kilometrów	367.020	600.000
transporty morskie ton	20.348.071	24.963.499,

podczas kiedy liczba mieszkańców Europy, wynosząca w roku 1880 322 miliony, wzrosła w roku 1894 do 364 milionów. Przyrost więc ludności bez porównania był powolniejszym aniżeli rozwój produkcyi w odpowiednim przeciągu czasu. Pod względem socyalnym oczywista z tego korzyść, ile że masy dla zaspokojenia swych potrzeb daleko większą rozporządzają ilością produktów.

Wedle Kleinmanna przesilenie monetarne nie stoi w stosunku bezpośrednim do przesilenia handlowego.

Przyczyny pierwszego są:

a) Wzrastająca bezustannie deprecyacya srebrnego kruszczu.

b) Ogólne prawie usiłowania zredukowania ad minimum obiegu srebra jako monety wewnątrz kraju.

c) Radykalne zmiany w transakcyach monetarnych z zagranicą.

Posługiwanie się srebrem w transakcyach międzynarodowych ustaje coraz więcej. Zakupy w Stanach Zjednoczonych, Rosyi, Turcyi i Egipcie wyłącznie złotem bywają sołdowane. Ludy nad morzem Czerwonem zamieszkałe, które lat dziesięć temu talary Maryi Teresy znały jedynie, dzisiaj złota wyłącznie w zamian za swe towary wymagają.

Zwolennicy podwójnej waluty zapominają, że rzadkość i obfitość stanowi o wartości produktów. Tam też rzeczywistego czynnika ceny szukać należy. Kleinmann nadmienia, że deprecyacya cen spotyka przedewszystkiem towary, na wielką skalę produkowane, które na poszczególne rynki z wszystkich części globu sprowadzać się dają. Ceny towarów, których produkcya względnie bywa ograniczoną, podniosły się w niej tak n. p.:

	1845-50	1880	1895
Kawa	100	151	175
Tabaka	100	180	233
Mięso	100	119	140
Drzewo	100	105	105

Dyskont nigdy nie był łatwiejszym ni mniejszym podlegał fluktuacyom. We Francyi np. stopa 3-procentowa od roku 1889 do 91, wynosiła w następnem trzechleciu (91—94) $2^1/_2$ proc. w roku 1895 zaś tylko 2 procent. Wszystkie te dane znikają niepostrzeżone w oczach ludzi, którzyby do wolnej monetyzacyi srebra powrócić pragnęli; nie większą zwracają oni uwagę na zmiany systemu monetarnego, jakie się w poszczególnych krajach dokonują. Reforma monetarna w Austryi opartą jest na podstawie złotej waluty. Podobną rezolucyą przyjęła świeżo republika Chile. Rosya zatwierdziła wypłatę w złocie pożyczek prawnie zakontraktowanych. W Indyach wolna monetyzacya srebra zawieszoną została 26 czerwca 1893 roku. — Pożyczka Chińska przez Rosyą zagwarantowana złotem ma być wypłaconą. Opłata procentów kosztować będzie Chiny rocznie 16 milionów franków w złocie, nie licząc innych pożyczek później zaciągniętych i w złocie płatnych. Tym sposobem Chiny zmuszone będą niejako do zaprowadzenia waluty złotej. Kleinmann przypuszcza, że Chiny za przykładem Rosyi rozpoczną od pobierania ceł w złocie. Japonia zainkasuje 1250 milionów franków w złocie odszkodowania wojennego. Tutaj zastanawia się autor nad kwestyą, czy rząd Mikada nie skorzysta z tej sposobności do zaprowadzenia waluty przyjętej przez większość narodów europejskich.

Deprecyacya przedniejszych towarów — tak konkluduje autor broszury — wypływa z rozwoju produkcyi i ze zniżki ceny ich samokosztu; nie pozostaje ona w żadnym stosunku do systemu monetarnego poszczególnych krajów. System monetarny oparty na jednoczesnem i dowolnem użyciu dwóch kruszców, których stosunek waży się pomiędzy 1 do $15^1/_2$ i 1 do 30-stu bez najmniejszej możności ustanowienia propozycyi stałej, jest systemem godnym potępienia. — Jedynym rzeczywistym środkiem międzynarodowej wymiany jest waluta jednolita, na stałej i niezmiennej oparta podstawie, taką jest waluta złota. Srebro odgrywać tylko może poślednią rolę monety zdawkowej.

Bolesław Krzyżański.

KRONIKA LITERACKA.

Obrazy w Łazienkach. Jak donosi „Świat“, wkrótce wyjdzie z druku opis wszystkich obrazów, znajdujących się w czterech pałacach cesarskich w Warszawie. Wydawnictwo to podjęto z powodu przeniesienia z pałacu łazienkowskiego do Ermitażu w Petersburgu pięciu obrazów.

* * *

Antropologia krajowa. Na ostatnim posiedzeniu komisyi antropologicznej krakowskiej akademii umiejętności, z wielkiem uznaniem przyjętą została praca członka tejże komisyi, p. Adama Zakrzewskiego, „O charakterze antropologicznej ludności Warszawy“.

* * *

* **Plotki w prasie.** Wszędzie i zawsze ludziska kłócą się pomiędzy sobą i naturalnie, używają najrozmaitszych środków, ażeby tego, przeciw komu czują niechęć, zdeskredytować. W małomiasteczkowem życiu czyni się to za pomocą plotek, puszczanych pokątnie, które w miarę tego, jak przechodzą z ust do ust, nabierają większej mocy, aż wreszcie stają się głosem utartej opinii publicznej — bez odwołania. Idzie tam zwykle o drobne, codzienne urazy: Pani doktorowa sprawiła sobie modną suknię i zaćmiła panią aptekarzową, która tego nie może jej przebaczyć, panna Eufemia, zakochana w młodzieńcu, noszącym jaskrawe krawaty, doznała afrontu, bo ów lew pacanowski zwrócił swoje wejrzenie w innym kierunku. Ale nie zawsze tak bywa, t. j. nie zawsze pobudki dostarczą drobne ambicyjki. Kupiec z kupcem współzawodniczą o sprzedaż pieprzu, pan oberzysta rad byłby swego sąsiada powiesić na pierwszej lepszej gałęzi za to, że ten posiada więcej gości, starszemu doktorowi młodszy Eskulap, który tylko co przybył z ławy uniwersyteckiej i stanowi pożądaną partyę dla panien wrejących walką, odbiera klientelę. W takich wypadkach plotki stają się narzędziem usunięcia rywala, jeden więc lekarz zarzuca drugiemu nieznajomość najkardynalniejszych zasad medycyny, rzuca nawet podejrzenie na jego charakter moralny. Gdybyśmy zajrzeli do kroniczki miast prowincyonalnych i tam spędzili czas niejaki pomiędzy rejentami, adwokatami i lekarzami, to znaleźlibyśmy się w osobnem bagnisku plotek i oszczerstw wzajemnych — dla chleba!

Bynajmniej nie dzieje się lepiej w piśmiennictwie, ba, rzecz przybiera nawet gorszą fizyognomię, ponieważ w potrzebie wzajemne urazy mogą wyciągnąć plotkę z ukrycia i podać ją w łamach dziennika czytajacej publice. Ktoś, stojący zdala od koteryi i koteryjek literackich, znając tylko utwory literackie, zwykle wyrabia sobie o ludziach pióra pojęcie najopatrzniejsze. Zanadto wierzy on w rozum różnych rzemieślników, zarobkujących piórem. Czytelnikom nawet przez myśl nie przechodzi, że talent literacki zgoła nie chodzi w parze z wykształceniem i uczciwością — trzeba posiadać pewną dozę dowcipu, niejaką łatwość wysłowienia się, ciętość języka, i karyera już ściele się jako równa droga. Powtóre, ludziskom się zdaje, iż ci, co piszą, są ulepieni z bardzo szczególnej gliny, tak szczególnej, że mówią tylko prawdę, obcy wszelkiej prywacie. Niestety, chyba jedno pomiędzy primadonnami menuetów na pięcie jest więcej drobiazgowości. Zwłaszcza ci, co trzymają krytykę w swojem ręku, umieją używać i nadużywać onego przywileju. Niektórzy z nich broją jako prości zbójnicy.

W świecie literackim współzawodnictwo o sprzedaż swojego towaru podobnie toczy się, jak w każdym innym geszefcie; drobne ambicyjki rej wodzą, zazdrość na jaw wypływa. Wszystko to posługuje się piórem. Puszcza się tam plotki i ploteczki, które kursują pomiędzy łatwowiernymi i czynią swoje. Nie wszystkie są do druku przeznaczone i nie wszystkie też ukazują się w druku. Ta okoliczność właśnie sprowadza nas w jądro sprawy, które znagliło nas do wzięcia pióra. W Warszawie plotki krążą najrozmaitsze i niekiedy najdziksze — w sferach dziennikarskich. Panowie literaci, jak starożytni augurzy, jedynie się uśmiechną ironicznie, kiedy usłyszą i wiedzą, kto i w jakim celu wypuścił strzałę. Ale zawsze znajdzie się jakiś symplicyusz dobrej wiary, lub nawet świadomy swojej złej woli, który plotkę rzuca na łamy dzienników zakordonowych, gdzie ona bez przeszkody rozpowszechnia się. Byłem właśnie świadkiem powstania takiej plotki, która puszczona przez kogoś w sposób żartobliwy, wyrosła w prasie galicyjskiej na telegram, później odwrotnie przedostała się do Warszawy i bodaj czy do dnia dzisiejszego nie uchodzi za coś bardzo autentycznego. W jednej z knajp siedziało grono dzieneikarzy, ktoś nadchodzi z nowiną (przez siebie sfabrykowaną), że jeden z redaktorów został spoliczkowany. Nastały dowcipy i uwagi, wkońcu poznano się na żarcie Ale na trzeci dzień podobne wiadomości zostały opublikowane bodaj że we Lwowie. Obecnie w prasie zagranicznej krąży inna pogłoska — o p. Lesznowskim, redaktorze „Gazety Warszawskiej“. Od kilku tygodni, jak jestem zagranicą, słyszę o niej; pytano mi się o jej autentyczność w Berlinie i w Londynie, ktoś nawet piśmiennie zwracał się. Tymczasem jestem przekonany o tem, że jest w niej tyle prawdy, ile w owym fakciku. O „Gazecie Warszawskiej“ od lat dwóch chodzą najrozmaitsze pogłoski: pewnego dnia dowiadujemy się, że została organem antysemitów i Liebtenstejny i Luegerzy mają w niej pisywać, to znowu, że margrabia Wielopolski nabył ją, ażeby zamienić na swój organ, to wreszcie, że to uczynił hr. Szuwałow. Obracając się w świecie dziennikarskim, nauczyłem się cenić te głosy famy plotkarskiej. Kiedy taka wiadomość pojawi się w redakcyi, przemycana od stolika do stolika, każdy z nas wpuści ją jednem, wypuści drugiem uchem. Ale tak, poza redakcyami jej wierzą i ktoś uchwyci ją i pomoże do zamiany na wydrukowane prawdy.

Rozumiem dobrze, że moim artykułem nie zapobiegnę dalszej praktyce. Podnoszę tę kwestyę tylko dla tego, ażeby zwrócić uwagę, iż tak często się dzieje.

L. Krzywicki.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Książę Ferdynand powrócił do Zofii i powitany został podobno z wielkim zapałem. — W Ischl odbył się zjazd cesarskiej pary austryackiej z królewską parą rumuńską. Obecność hr. Gołuchowskiego nadała zjazdowi temu znaczenie polityczne i wzbudziła różne domysły. — Spotkanie się hr. Gołuchowskiego z ks. Hohenlohe w Aussee zakończyło się pożądaną wymianą myśli: obrady dotyczyły głównie ruchu bułgarsko-macedońskiego. — Na Kubie ruch powstańczy coraz większe przyjmuje rozmiary, mianowicie przez poparcie z zewnątrz, przez posiłki, nadchodzące wbrew zakazom i groźbom Clevelanda, ze Stanów Zjednoczonych. Hiszpania musiałaby całą swą zbrojną siłę morską posłać na Kubę, gdyby chciała odciąć ją od reszty świata i ograniczyć powstańców na własne siły. Tego zaś ze względu na inne kolonie nie może. — W izbie włoskiej podczas obrad nad ustawą o utworzeniu banku kredytowego ziemskiego wywiązała się ponownie gwałtowna kłótnia między dep. Colajannim, a posłami z prowincyi południowych. Powód zajścia był ten, że Colajanni ogłosił artykuł w dziennikach, rzucający podejrzenie na posłów z południowych prowincyi. Izba została odroczoną na czas nieograniczony. — Zmowa mularzy, ceglarzy, cieśli i młynarzy, do której należało w Przemyślu 4000 osób, zakończoną została drogą ugodową. — W okolicy Medyolanu kilkanaście fabryk jedwabiu zostało zamkniętych skutkiem zaprzestania pracy przez robotników. — W Małej Azyi szerzy się straszliwie cholera w wilajetach Adana, Aleppo i Angora. — W kopalniach Ameryki Północnej coraz gwałtowniej wybucha zawiść między robotnikami białymi i czarnymi; w kilku miejscowościach przyszło już do krwawych rozpraw. — W hutach szklanych w Carmeaux wybuchła zmowa robotników. — W Fu-tszeng w Chinach mieszkańcy wymordowali chrześcian. — Według szczegółowych obliczeń skutkiem zatonięcia okrętu włoskiego „Maria-Pia“ straciło życie 101 osób, w tej liczbie 49 dzieci. — Florencya nawiedzoną została trzęsieniem ziemi. — Kopalnia węgla w Auchencharvie została zalana wodą; 14 górników zginęło. — Książę Bismarck rozstał się ze swoim długoletnim sekretarzem, drem Chrysander. Oddawna już doktor był w bardzo złych stosunkach z całem otoczeniem eks-kanclerza, miał wszelako nad nim samym taki wpływ, iż zdawało się, że stanowisko jego we Friedrichsruh jest niezachwiane. Córka księcia wszakże, hr. Rantzau, zdołała pokonać opór ojca i dr. Chrysander dostał dymisyę. Stanowisko jego zajmie zięć eks-kanclerza, mąż tejże hrabiny Rantzau; dr. Chrysander zaś udał się do Jeny, gdzie zamierza się przygotowywać do karyery profesorskiej. Obiegają wszakże pogłoski, iż dymisyonowany sekretarz postanowił napisać książkę o trybie życia we Friedrichsruh i odsłonić niejedną sensacyjną tajemnicę.

* **Teatr i muzyka.** Pani Gabryela Snieżko-Zapolska występowała w Warszawie w tłomaczonej przez siebie sztuce Richepina „Lep“, która jednakże nie znalazła uznania. O występach artystki prasa tamtejsza wyraża się jednak z wielkiem uznaniem. — Paweł Lindau napisał sztukę czteroaktową „Der Andere“, która podczas pierwszego przedstawienia w Lipsku doznała wielkiego powodzenia. — Opera Uricha „Der Lootse“, wykonana pierwszy raz w Charlottenburgu, zyskała ogólne uznanie. — Opera berlińska rozpoczęła sezon jesienny w teatrze Krolla, odpowiednio przerobionym, gmach bowiem opery ma być w ciągu roku gruntownie odrestaurowany.

Zmarli:

* **Antoni Zaleski,** redaktor i wydawca „Słowa“ warszawskiego.

* **Książę Edmund Radziwiłł,** członek zakonu Benedyktynów, autor kilku dzieł treści teologicznej i polemiczno-politycznej w języku niemieckim.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Now. Pan Jan Kasprowicz mieszka stale we Lwowie, gdzie jest współpracownikiem „Kuryera Lwowskiego“.

Od Administracyi.

Zapytujemy, czybyśmy nie mogli otrzymać jednego egzemplarza nr. 14 z r. b. i pod jakiemi warunkami? Pragnie go mieć osoba, której bardzo zależy na kompletnym kwartalniku.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 34. Poznań, Niedziela 25. sierpnia 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Piąty międzynarodowy zjazd kryminologów w Paryżu.

Kongres ten, piąty z rzędu (pierwszy londyński, 1872 r.) świetnością zaćmił wszystkie poprzednie. Zjechało się około 780 członków ze wszystkich krańców świata: Anglii i Japonii, Norwegii i Grecyi, Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i Nikaraguy, Chili, Argentyny i Brazylii — w tej liczbie wiele dam, które, według niezbyt zręcznego komplementu jednego z członków kongresu, przypominały „wieniec żywych kwiatów“. Dodać zaraz trzeba, że świat uczonych nieskończenie szczuplej był reprezentowany niż dygnitarzy sądu i administracyi. Tak n. p. cała włoska szkoła kryminologii, prócz Garofala i Sergi'ego i dwóch do trzech innych, pozostało w domu, między nimi i Lombroso; a przecież Włochy przysłały aż 32 członków. Ponieważ uważano sobie za punkt honoru sprawić przyjęcie, jak przystało na „dzielnych ludzi“ (słowa inspektora generalnego przy min. spraw wewn., Puibarand'a), urządzano więc bankiety wszędzie: u prezydenta rzeczypospolitej, ministra spraw wewnętrznych, w Radzie municypalnej Paryża, ratuszu, na wieży Eiffel, Sekwanie, w Palmarium Jardin d'acclimation, na wycieczkach do Nelun, Fontainebleau, Sévres, St. Cloud, Nanterre, Montesson, Guillon i t. d.

Cztery sekcye kongresu miały nazwy: I) prawodawstwa karnego, II) kwesyi plenitencyarnych, III) środków zaradczych, IV) spraw dotyczących nieletnich. O ile widać z samych nazw, jak również z programu i treści rozpraw, prowadzonych w sekcyach i na zebraniach sekcyi połączonych, nie zajmowano się wcale sprawami kryminologii ogólnej: zbrodnictwa, odpowiedzialności i t. p. Ale w „sekcyi piątej“, na bankietach, kiedy butelki i serca otwierały się z uprzejmością i zapałem, można było słyszeć, że gwiazdą przewodnią wszystkich prac jest „sprawiedliwość litościwa“, współczucie dla przestępców, których trzeba leczyć a nie karać, pielęgnować a nie opuszczać, podnosić z upadku a nie niszczyć; przezorność, która występkom zapobiega; dobroć, która wierzy w poprawę człowieka i nigdy nie opuszcza rąk. Niepodobna też nie odczuć tego tchnienia ludzkości i prawdziwej nauki w wielu wnioskach i ich roztrząsaniu, zwłaszcza na posiedzeniach sekcyi V-tej, zajętej małoletnimi. Ale bywały rozstrzygnienia kwestyi, a nawet całe potoki rozpraw, które stoją w zdumiewającej sprzeczności z tem wszystkiem. Takiem na przykład jest posiedzenie d. 2 lipca sekcyi II-giej, które wywołało niemal oburzenie w większej cześci prasy paryskiej. Warto się temu przysłuchać. Kwestya była następująca: Czy więźniowie mają prawo do zapłaty za swą pracę w więzieniu?

Czy też wytwór ich pracy powinien być użyty przedewszystkiem dla pokrycia kosztów utrzymania skazańców tej samej — co pracujący — kategoryi, po potrąceniu części wytworu, która ma być zatwierdzona dla każdego z nich i części, która ma być rozdawana w postaci wynagrodzeń, gratyfikacyi, najbardziej godnym?

Po odczytaniu streszczenia referatów przedstawionych, rozpoczyna się dyskusya. Napróżno dyrektor więzienia brukselskiego, Stevens, usiłuje walczyć z mniemaniem powszechnem i dowodzi, że chociaż więzień winien część pracy państwu, ono ze swej strony winno jest mu dać zapłatę i że w ten sposób stwarza dla niego bodziec do pracy: chęć oszczędzania. Guibaraud, ten sam, którego Jagemann żartem nazwał „prezesem sekcyi piątej“, nie chce nic widzieć prócz tego, że skazani są dla państwa przyczyną wydatków stałych i znacznych i że przeto całą swą pracę powinni oddać więzieniu. Napróżno prezes rady państwowej szwajcarskiej Dunant zwraca uwagę na umoralniający wpływ płacy, a Cremieux, adwokat z Paryża, wskazuje przykład kodeksu francuskiego, art. 41. Prof. Brusa z Turynu, zamykając jedno oko, woła, że praca więzienna ma wprawdzie na celu poprawę przestępcy, ale stąd nie wynika prawo do płacy. Bouillard, szef jednego z biur ministeryum spraw wewnętrznych we Francyi, popiera go swem przekonaniem, że przestępca po uwolnieniu roztrwania zawsze zarobione w więzieniu pieniądze. A dyrektor więzienia w Passy, Laguesse, zaznacza, że zarobek dzienny więźniów dochodzi do 5 fr., i że to już zbyt „pyszne więzienie“. Dyskusya jeszcze się przeciąga, ale wszyscy przewidują jej wynik głosowania; przekorni wycofują się, wskutek czego „jednomyślnie“ uchwalono wniosek: 1) więzień nie ma prawa do płacy; 2) w interesie państwa leży, aby dawać gratyfikacyę więźniowi.

Na zebraniu ogólnem sekcyi, przeciw wnioskowi powstają jeszcze niektórzy, między innymi pani Pognon, stojąca na czele feministek francuskich; lecz przechodzi on większością głosów. Znany autor dzieła „La France criminelle“, Jolly, zapewniał sprawozdawcę dziennika „L'Eclair“, że wielu członków po posiedzeniu wyrażało mu żal, iż głosowało za wnioskiem. Gdyby to po bankiecie! Ale przed południem, dopiero zaś wieczorem odbył się bal w pałacu Elizejskim.

W czterech swoich sekcyach zjazd rozpatrzył 30 kwestyi. Jest też niepodobieństwem w krótkiem sprawozdaniu nawet przelotnie dotknąć wszystkich. Zaznaczę przeto tylko wnioski niektóre, najciekawsze, stanowiące rys charakterystyczny V kongresu, zwłaszcza te, które dotyczą małoletnich.

W sekcyi I, sprawa zsyłania zabrała stosunkowo dużo czasu, bo parę dni, zaognila spór pierwszorzędnych powag naukowych i mówców takich, jak n. p. Spasowicz i Leveillé ze „Szkoły kolonialnej“. Postanowiono, że użytecznem jest zsyłanie tylko jako kara za przestępstwo ciężkie i środek przeciwko zatwardziałym recydywistom.

Ta sama sekcya zatwierdziła wniosek, aby ukaranie przestępcy pociągało za sobą odszkodowanie ofiary z tego, co skazaniec posiada, lub z tego, co zarobi w więzieniu, albo z innego źródła, nad czem ma obradować następny kongres międzynarodowy.

W kwestyach włóczęgów i żebraków rozprawy doprowadziły do przyjęcia uchwały, iż jedynym środkiem, który zaradza złemu, bo działa na najbliższą przyczynę tych zjawisk, jest wyszukanie pracy dobrowolne lub przymusowe, do czego niezbędnem jest stworzenie kolonii i odpowiednich domów pracy.

W sekcyi II rozprawy dość żywe nad kwestyą tak doniosłą jak warunki więzienne kobiet nie mogły doprowadzić do żadnych wniosków określonych i zatrzymały się na mglistem oświadczeniu, że przepisy więzienne powinny być różne dla kobiet i mężczyzn pod względem fizycznym, moralnym i umysłowym.

W sprawie ćwiczeń, które mają oddziaływać dodatnio na przestępcę, sekcya stanowczo oświadczyła się za pracą fizyczną celową i użyteczną, a przeciw gimnastyce.

Ciekawym i głęboko sięgającym jest projekt sekcyi III, aby przy więzieniach istniały szkoły, biblioteki i — rzecz dowcipna — aby było wydawane pismo tygodniowe dla więźniów, z wiadomościami społecznemi i politycznemi, w celu nieodrywania ich od świata, a na odwrót, zaznajamiania z wypadkami, obchodzącymi wszystkich, i w ten sposób rozwijania w nich instynktu społecznego.

Wnioski sekcyi IV pozwolę sobie w rysach najogólniejszych, ale w całości, zaznaczyć.

Przedewszystkiem wiek, do którego sędzia może uwolnić od kary przestępcę nieletniego, dla przyczyn z niedojrzałości wynikających, czyli tak zwana nieletność karna, kończy się z rokiem 18-tym. Ale przestępca nieletni, powyżej lat 16, umieszczony w zakładzie po-

prawczym, musi być trzymany zdala od młodszych.

Ważnym środkiem, przeciwdziałającym zwyrodnieniu dziecka, jest wyrwanie go z otoczenia rodziców „niegodnych“; wskutek tego trybunał powinien usuwać opiekunów takich od władzy rodzicielskiej i składać ją w ręce państwa za pośrednictwem „towarzystw patronalnych“.

Dzieci, które przestępstwo popełniły, powinny być umieszczane w specyalnych zakładach, mających charakter poprawczy i wychowawczy. Po odebraniu wystarczającego wykształcenia szkólnego i zawodowego, i tylko wobec pewności, że nieletni przestępca będzie strzeżony i że pracę dostanie, może on być wypuszczony na wolność tymczasową. Wogóle „opieka administracyjna“ powinna trwać do pełnoletności.

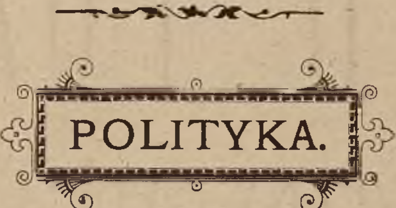
Dla zapobieżenia żebractwu i włóczęgostwu należy karać rodziców, popychających do tego swe dzieci, odbierać im władzę rodzicielską; uczciwym zaś, lecz nie mogącym czuwać nad swemi dziećmi, pomagać przez udzielanie ulg szkólnych i stwarzanie instytucyi jak ochrony, przytułki i t. p. Co do sierot, należy je umieszczać w ochronach czasowych, gdzie uczyłyby się pracy.

Za jeden ze środków, który najsilniej odradza organizm i ducha, uważa sekcya pracę zawodową, głównie na roli, a zatem na powietrzu.

Wreszcie sprawa prostytucyi wśród dzieci poruszyła wszystkich członków, zwłaszcza senatora Bérenger'a (o uwalnianiu od pierwszej kary za nieciężkie przewinienia i doliczaniu jej przy recydywie), ośmieszanego, szczególnie przez młodzież i artystów, za projekty przeciwko nieprzyzwoitości publicznej. Uchwalono konieczność umieszczania tych dzieci nieszczęśliwych — wśród nowych warunków życia: w odpowiednich zakładach wychowawczych. Ale ponieważ sekcya uważała kwestyę za mało opracowaną i zgłębioną, pozostawiła ją do przyszłego zjazdu.

Na zakończenie słówko o Japonii. Od 1867 r., t. j. od początku panowania obecnego jej cesarza Meidżi, wiadomo, jak gwałtownie wyzbywa się ona swej zeschniętej starej skóry azyatyckiej i nie opuszcza sposobności nauczenia się czegokolwiek lub pokazania swych zdobyczy. Na kongresie ogólny podziw wzbudziły wspaniałe wydawnictwa: tłomaczony przez Kadgi'ego „Rys historyczny urządzeń karnych i penitencyarnych w Japonii“, Tokio, 1895, 6 tomów in folio, i „Regulamin więzień w Japonii“, przełożony na francuskie przez Takedę, z 4 atlasami in folio rysunków kolorowanych i planów. Na posiedzeniu zebrania ogólnego, senator Teofil Roupel dał pobieżny szkic dziejów prawa japońskiego, który wystarczył jednak dla potwierdzenia raz jeszcze tej hipotezy, iż ewolucya prawa u wszystkich ludów przechodziła okresy jednakie.

al-Bar.



Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Mileszewy uratowane! Na odbytej przed kilku dniami w Poznaniu na radzie familijnej postanowili spadkobiercy oprzeć się na decyzyi sądu opiekuńczego i kontrakt z panem Paruszewskim zerwać. Równocześnie postanowiono dla wyjaśnienia całej sprawy ogłosić oświadczenie. Wyjmujemy z niego następujące ustępy:

„Gdy dzierżawa w r. b. się skończyła, zniewoleni byliśmy starać się sprzedać Mileszewy celem działów, a to tem więcej, iż z administracyą prowadzoną na wspólny rachunek smutne zrobiliśmy doświadczenia. Ci, którym chętnie bylibyśmy oddali majątek, nawet z znacznemi ustępstwami, zbyt śmiałe co do ceny mieli pretensye. Nadarzali nam się rozmaici kupcy Polacy, podający 330—350 tysięcy marek i więcej, ale później z niewiadomych nam powodów od zamiaru kupienia Mileszew odstępowali Wolno nam było domyślać się, iż ludzie, którym na tem zależało, by Mileszewy nie zostały sprzedane, użyli właściwych do tego sprężyn, a domysły nasze dowodami zostały stwierdzone.

Wobec tego musiano przyspieszyć sprzedaż Mileszew, i tej to właśnie okoliczności przypisać wypada, iż niedość z naszej strony liczono się z złośliwością i przebiegłością ludzką, by przed ich wpływem się ustrzedz.

Żaden atoli z spadkobierców nigdy nie objawił zgodności z tem, a nawet nie przypuszczał możliwości, aby Mileszewy przeszły w ręce niemieckie, a tem mniej w ręce kolonizacyi.

W tej też to myśli plenipotentom naszym już w zeszłym roku wystawione zostało upełnomocnienie, w tym też to duchu uczciwie i sumiennie nasi pełnomocnicy działali.

Ostatni sprzedali Mileszewy p. Wł. Paruszewskiemu, który słowem honoru zobowiązał się zastosować się do żądań spadkobierców, aby majątek w obce nam nie dostał się ręce. Kupujący spodziewał się przez rozparcelowanie części majątku pozyskać tyle, by utrzymać się przy zmniejszonej wsi (Restgut) i w tem właśnie chcieli mu pełnomocnicy w myśl spadkobierców dopomódz.

Zarzut, jakoby p. Paruszewskiego nie mogli pełnomocnicy uważać jako takiego, który dla siebie kupuje, jest bezpodstawny, gdyż p. Wł. P. posiadał 28,000 marek majątku po matce, a 8000 marek przyrzekł mu jeden z krewnych pożyczyć na kupno Mileszew, których nabycie chcieli mu nawet na jego życzenie ułatwić panowie plenipotenci, przyrzekając, iż części działów na nich przypadające pozostawią kupującemu na majątku.

Pan P. oglądał majątek przed sprzedażą; zaliczki nie potrzebował płacić żadnej, bo kontrakt nie był jeszcze prawomocnym, w skutek zależności od potwierdzenia sądu opiekuńczego w Strzelnie.

Niestety p. Wł. P. nadużył zaufania, złamał dane słowo i sprzedał majątek jakiemuś panu Starckowi, przedstawionemu już dawniej przez adwokata pana Wyczyńskiego p. p. plenipotentom, a z którym ci, dowiedziawszy się kim jest, w żadne układy wejść nie chcieli. Pan Paruszewski sprzedał, jak się zdaje, z namowy swego długoletniego mentora i tajnego wspólnika pana Niedrowskiego, i uczynił to bez wiedzy bliższej swej rodziny, nawet ojca, lecz, o czem jesteśmy przekonani, w tej dobrej wierze, że p Starck kupuje li tylko dla siebie. Skoro się atoli dowiedział o rzeczywistem niebezpieczeństwie, iż przez p. Starcka wieś nabyta dostać się może w ręce kolonizacyi, pełen skruchy oświadczył gotowość czynienia wszystkiego, coby się mogło przyczynić do zniesienia kontraktu i rzeczywiście dobrowolnie dnia 16 b. m. kontrakt z pełnomocnikami zawarty cofnął, a dnia 17 b. m. doniósł pełnomocnikom, iż p. Starck wiadomość o zniesieniu kontraktu przyjął zgodnie

Jakiego rodzaju był kontrakt p. Paruszewskiego z panem Starckiem, nikt z nas nie wie, bo nikt z nas nie był przy jego zawarciu, ani też o jego istnieniu nie wiedział.

Raz jeszcze powtarzamy, iż ręce nasze w całej tej sprawie są czyste, a sumienie nasze nic nam nie zarzuca, to też wzywamy publicznie wszystkich oszczerców, by nam przeciwieństwa udowodnili, nie mogąc zaś, by krzywdę wołającą o pomstę do Boga starali się odwołaniem zarzutu naprawić“.

—

Do oświadczenia tego dodaje „Dziennik Poznański“ następującą uwagę:

„Cokolwiekbądź, wobec frymarki i szacherek ziemią polską dziennikarstwo nasze ma zasługę, że wystąpiło energicznie, i ono obok rodziny ś. p. Ign. Łyskowskiego uratowało Mileszewy. Może teraz sprzedawczyki, którzy z podniesioną głową chodzą po świecie, poczują się do wstydu.“

—

W „Gońcu Wielkopolskim“ czytamy:

„Z Wystawy. Wedle krążących na mieście wieść ma się odbyć rozdanie nagród i premii wystawcom już w sobotę dnia 24 b. m. Pisząc o tem, przestrzegamy przemysłowców Polaków na prowincyi mianowicie przed tem, aby się nie zapatrywali różowo na wyroki sędziów poszególnych oddziałów

Przy wyborach sędziów w pojedyńczych oddziałach zaspali Polacy — jak zwykle — sprawę, a jedynie w oddziale szewskim i siodlarskim uwydatniła się praca agitacyjna przemysłowców tak wyraźnie i skutecznie, że działy te wybrały przeważnie sędziów Polaków.

Wobec strat materyalnych, na które bardzo, ale to bardzo znaczna część przemysłowców obsyłając wystawę się naraziła, uważamy premiowanie za rzecz podrzędną. Z Polaków nie znajdziemy zapewne nikogo, ktoryby ubolewał, gdy go minie medal lub dyplom szwabskiej „rządowo“-prowincyonalnej wystawy.

Na zapytanie nasze, w jakim języku bite będą medale i drukowane dyplomy dla Polaków, nie raczył

Marya Komornicka.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

LEON.

Zgadłaś pani.

WANDA (*z oburzeniem*).

Jeżeli pan masz na myśli wprost niecną recenzyę Kuryera...

LEON (*przerywa*).

Niecna, bo bez kadzidła!

WANDA (*j. w.*)

Bo potworcza!

LEON.

Na to dowodów nie ma.

WANDA (*gorzko*).

Naturalnie! Ani trybunału, ani paragrafu w kodeksie. Wolno nam odebrać wszystko, aż do twórczości! (*uspakaja się*). Zresztą mniejsza. Ja tworzę, to nagroda sama w sobie. Nieś ciężar sławy, Kaziu!

LEON.

Szczególna własność zatrucia wszystkiego — i ranienia ludzi nawet ich powodzeniem!

WANDA (*szydersko*).

Masz pan słuszność; — tego przecie doznaję.

LEON.

Ależ ja tu nie mówiłem o pani i Kaziu!

WANDA (*z ironią*).

Nie myśl pan, bym nie odczuła jego intencyi, co trudnem nie jest, wziąwszy w rachubę jednostajną jego, lecz daremną chęć zranienia mnie.

LEON (*tryumfująco*).

Jednak ubodła panią krytyka.

WANDA.

Oburzyła!

LEON (*z uczuciem przewagi cedzi słowa*).

Nie przypuszczam, byś pani podpisywała swe nazwisko pod utwory męża; inaczej rozumiem to odbieranie twórczości; mianowicie, jako przejęcie się indywidualizmem męża, rozwinięciem jej i tworzeniem pod jej wpływem; dowodzi tego choćby fakt wielkiego podobieństwa utworów pani z kompozycyami Kazia, z kompozycyami wcześniejszemi od pani.

WANDA.

Ja... ja się przejęłam! (*hamuje się, gorzko*) Bronić nie mogę tym razem sprawiedliwości, bo sprawa ta mnie dotyczy, a objektywnego rozsądzenia spraw osobistych nie pojmujecie. Wiedz pan tylko, że popełniasz psychologiczną omyłkę... absurd — i krzywdzisz mnie, jak tylko niechęć ludzka człowieka skrzywdzić może.

LEON.

Nie jestem niechętny, chcę być sprawiedliwym tylko; żałuję tylko, że obrony pani słyszeć nie będę, miałbym sposobność podziwiania jej dyalektyki.

WANDA (*wstaje*).

A ja, że dłużej nie dam panu sposobności zaostrzania tępej ironii (*wychodzi*).

KAZIMIERZ.

Coś ty zrobił! Obraziłeś ją!

LEON.

Idź ją przeproś za mnie; ja jej się za ciebie odwdzięczam.

KAZIMIERZ.

Nie rób tego, proszę cię. Ona jest dobra dla mnie.

LEON.

Pan mąż obawia się przyszłej awantury.

KAZIMIEZ.

Nie znasz jej... Ma wstręt do wszelkiej trywialności.

LEON.

Zapewne! Trywialnem nie jest to deptanie ciebie, to wywyższanie się twym kosztem: ależ ona mówi o tobie, jako o głupcu! A przyznaj się, ile razy pomagałeś jej w pracy?

odpowiedzieć ani komitet, ani też żaden z członków jego Polaków. Wobec nader biernego stanowiska, jakie członkowie Polacy — z chlubnym wyjątkiem p. p. Ofierskiego i Krysiewicza — zajmują w obradach i pracach Komitetu — nie mamy się czego na tem polu spodziewać.

Wystawa poznańska pod złemi rozpoczęła się dla Polaków auspicyami — i skończy się dla nas również smutno, jak wszelkie prace społeczne nasze, rozpoczynane „od dachu“, a nie od „fundamentów“. Że tak się miało z wystawą, tego dowodem fakt, że przez cały peryod przygotowań i trwania jej nie odbyło się ani jedno zebranie polskich przemysłowców z wyjątkiem owej chwili, gdzie wyrzucono język polski z wystawy. Pod względem organizacyjnym, agitacyjnym i harmonijnego wystąpienia na zewnątrz szli przemysłowcy nasi przez cały czas samopas, przyczem niejednemu dostały się jeszcze moralne cięgi.

Samopas też zejdziemy z wystawy — z nosami spuszczonemi na kwintę.“

—

W sprawie „wspólnego“ obchodu uroczystości pamiątkowych wojny 1870-71, do którego wzywano także ze strony niemieckiej w kilku wypadkach Towarzystwa polskie „O r ę d o w n i k“ pisze:

„Prawda to, że Polacy walczyli w tej wojnie, że krew swą przelewali, że uznano ich waleczność i poświęcenie. Polacy spełnili sumiennie swój obowiązek i o tem bardzo dobrze pamiętają. Ale pamiętają też coś więcej.

„Czyli nie po wojnie francuzko-niemieckiej nastała walka kulturna, która nam pędziła do więzień Biskupów, księży i wiernych, a kościoły zamykała?

„Czyli nie po wojnie francuzko-niemieckiej wyrugowano nasz język polski z szkół, urzędu i sądu?

„Czyli nie po wojnie francuzko-niemieckiej wydalono dziesiątki tysięcy Polaków z Prus za to jedynie, że byli Polakami?

„Czyli nie po wojnie francuzko-niemieckiej przyszły na nas ustawy antipolskie, przyszła 100 milionowa ustawa kolonizacyjna, która skupuje ziemię polską, żeby ziemia ta nie wróciła do rąk polskich.

„Czyliż nie po wojnie francuzkiej przyszły na nas ciosy i gromy, skierowane przeciwko naszej narodowości polskiej i wierze katolickiej?

„Wobec tego my Polacy razem z Niemcami nie możemy się cieszyć i radować nad zwycięztwami Niemiec. Nie możemy też brać udziału w uroczystościach i pochodach, urządzanych przez Towarzystwa niemieckie. Nie możemy iść tam, gdzie naszego języka polskiego nie uwzględniają. Na zaproszenia Towarzystw niemieckich niech Towarzystwa polskie odpowiedzą spokojnie, ale stanowczo odmownie.“

—

„N o w i n y R a c i b o r s k i e“ donoszą:

„Z pod Rybnika. Do komitetu wyborczego na powiat pszczyńsko-rybnicki zwracamy się z uwagą, że z postawionych kandydatów nie jesteśmy zadowoleni. Jakkolwiek mają ci panowie być dobrymi ludźmi, ale jeden jest Niemcem, a drugi nie wiadomo czem, obydwaj nieznani ludowi polskiemu. Potrzeb tego ludu także nie znają, co przeciwnie o ks. proboszczu Wolczyku z Pszowa sumiennie zapewnić można. Lud polski komitet wybrał na to, żeby radził o potrzebach i czynił wolę ludu. Więc prosimy też, żeby się zastósował do tego i innych posłów do wyboru zalecił, aby nie nastąpiło rozdwojenie. Lud polski żąda rodzonych Polaków, którzy doskonale znają potrzeby ludu, jasno je będą przedstawiali i śmiało za nie walczyli. Jeżeli się to nie zmieni, to nam się zdaje, że wybory źle wypadną. Kto zaś temu będzie winien, niech sobie sam odpowie.“ Uwaga Redakcyi: Gdy nie jesteście kontenci z kandydatów, to trzeba zwołać wiec wyborczy i naradzić się, co robić i jakich kandydatów postawić. Pana Strzodę z Wierzchu trzeba zapytać, czyby mandat przyjął. Jeśli nie, to trzeba innych kandydatów, choćby chłopów postawić. Więc trzeba zwołać na jedną z najbliższych niedziel i ogłosić w polskich gazetach. Innej rady nie ma!

—

O wycieczce górnoszląskiej do Poznania „K a t o l i k“ bytomski tak pisze:

„Pod przewodnictwem redaktora „Gazety Opol.“, p. Koraszewskiego, przybyło w sobotę do Poznania około 90 osób, ażeby obejrzeć wystawę i miasto, oraz aby się zapoznać z Polakami w Poznańskiem. Były to takie odwiedziny, jakiemi bywają odwiedziny braci serdecznych: szczere i rzewne. Nie mogło być inaczej, bo Polacy na G. Szląsku a Polacy w Poznańskiem z jednej i tej samej krwi i kości pochodzą, więc goście górnoszląscy i Poznaniacy przypadli sobie bardzo do serca. Na dworcu czekały setki ludzi i witały okrzykami przybywających. Potem udali się wszyscy do kościoła św. Marcina na krótką modlitwę; następnie zaś na salę p. Adamskiego, gdzie spożyto obiad. Tu się wzajemnie zapoznawano, wygłaszano mowy i wznoszono toasty. Nazajutrz w niedzielę zwiedzano rano osobliwości miasta, potem udano się na nabożeństwo do wspaniałej fary poznańskiej. Po południu goście zwiedzili wystawę. Pod wieczór zasiedli do uczty wraz z licznymi Poznaniakami Tu znów były liczne przemowy; z gości przemawiali pp. Koraszewski, Kirszner, Baron, poseł Strzoda. P. Strzoda powiedział pięknie, że lud górnoszląski zawsze będzie bronił skarbów odziedziczonych po ojcach i nie zginie. Przyjęciem Górnoszlązaków zajmował się Komitet z p. Dobrowolskim, redaktorem „Dziennika“, na czele. W uczcie wzięli udział panowie szlachta, mieszczanie, włościanie, rzemieślnicy i robotnicy. Braciom Polakom z Poznańskiego należy się szczere podziękowanie za tak mile przyjęcie. Bóg im zapłać!“

Przegląd prasy słowiańskiej.

„S w o b o d a“ pisze:

„Rządowy organ „Mir“ zachowuje się od pewnego czasu tak, jakby już był organem rosyjskiej ajencyi. W wielu wypadkach tłomaczy dosłownie rosyjskie pisma, dokumentując jedność zapatrywań.

„Rozpoczął on obecnie walkę z całą Europą, i ze wszystkiemi państwami, oraz dziennikami, rozpisującemi się o obecnej sytuacyi w Bułgaryi. Chwali tylko Francyą i Rosyą, sądząc, że tym sposobem tę ostatnią zjedna.

„Beznadziejny stan, w jakim się Bułgarya znajduje zmusza rząd do szukania pomocy w Rosyi i schlebiania jej. W ucywilizowanej Europie, gdzie u ludzi coś znaczy honor i charakter nie mogą pojąć, jak można bronić morderstwa popełnionego na Stambułowie. Natomiast w oczach Rosyi wypadek taki to nic dziwnego. Przed nią to korzy się rząd bułgarski i błaga, aby wzięła Bułgaryą w swoją opiekę!

„Co ta opieka znaczy?

„Wiadoma, czego się możemy od Rosyi spodziewać; nie uzna ona rychlej praw naszych, dopóki książę Ferdynand znajduje się na tronie.

„Rosyjskie pisma mówią o ugodzie, ale wykluczają z niej ks. Ferdynanda. Przyznaje to deputacya, która jeździła do Petersburga. Sam Naczewicz skarżył się przed znajomą nam osobą, że deputacya niczego nie osiągnęła, oraz że Rosya domagała się wiele, bardzo wiele. To wiele odnosi się do ustąpienia księcia i powrotu rosyjskich oficerów. Oficerowie rosyjscy mają być rękojmią, iż w Bułgaryi dziać się będzie po woli Rosyi.

„Gdy to wiadome, dziwić się trzeba, czemu rząd dotąd stopy Rosyi liże? Czy tem upodleniem zjednamy sobie sympatye Europy?

„Faktu nie można objaśnić innym sposobem, jak tem, że rząd nosi się ze zamiarem uczynić woli Rosyi zadość. W takim razie Stoiłow i Naczewicz pewnego pięknego poranku zrobią to samo z księciem Ferdynandem, co zrobiono z jego poprzednikiem. Tendencyą dzisiejszego rządu jest rzucanie Bułgaryi na pastwę Rosyi. Dziś używa się wszystkich sposobów, aby naród bułgarski przekonać, iż bez Rosyi istnieć nie możemy. Położenie Bułgaryi jest istotnie rozpaczliwem...“

* * *

Chorwacki „N a r o d n i L i s t“, wychodzący w Zadarze, w Dalmacyi, organ stronnictwa prawa, pisze o obecnem położeniu tamże:

„Ogół naszego społeczeństwa znajduje się dotychczas pod wpływem stronnictwa, któremu brak zrozumienia istotnych potrzeb narodu. Dziś nam potrzeba w duchu postępowym rozwoju wszelkich instytucyi narodowych. Trzeba nam zatem ludzi rzutkich, gotowych do wszelkich ofiarności, którzy potrzeby nasze rozumieją i chcą szczerze sprawie służyć. Potrzebujemy ludzi, którzy nie spuszczają z oka wyższych celów narodowych i potrafią użyć przysługujących nam praw autonomii dla dobra powszechnego.

„Reprezentanci poszczególnych krajów chorwackich mogą zdziałać wiele, czy atoli z obecnej reprezentacyi jest ogół nasz zadowolony, na to nie inaczej jak przecząco można odpowiedzieć.

„Widzimy, że przedstawiciele gmin dalmacyńskich zostali z urzędów swoich złożeni, że większość ma komisarzy rządowych na czele, sprawujących ten urząd prowizorycznie już od roku lub czasu dłuższego. Nie chcemy wyro-

---

KAZIMIERZ (*gorąco*).

Nigdy! Tryl dodany przemnie na koncercie wydaje jej się obelgą!

LEON.

Lecz dla czego nie pozwala ci tworzyć?...

KAZIMIERZ (*cicho*).

Ja teraz jakoś nie mogę... Zanadto ją kocham...

LEON.

Ha! ha! nie chcesz tworzyć, by jej nie zaćmić.

KAZIMIERZ.

Nie, tylko ona zabiła we mnie talent.

LEON.

Jak? Miłością?...

KAZIMIERZ (*gorzko*).

Ha, ha! Czy mnie ona kocha? Od pół roku pocałować się nawet dać nie chce; kradnę pieszczoty! (*cicho*) Ona ma więcej zdolności odemnie.

LEON.

Ośle zakochany! Ona ma pewność sie[illegible]ie i wygrywa! A ty sobie nie wierzysz i m[illegible]niejesz. Odarła cię z twych pomysłów, a [illegible] klękasz przed jej kradzionym geniuszem! W[illegible]zyskuje cię, a ty prosisz, by zechciała cię dalej wyzyskiwać! Czy słyszał kto kiedy o kompozytorce tej miary? Ona jest tylko nominalną zręczną autorką twych dzieł! Zrozumiej to i pracuj, bo inaczej gardzić tobą będzie!

KAZIMIERZ.

A może ty masz słuszność?.,. Talent jej rozwinął się dopiero, gdy mnie poznała.

LEON (*wstaje*).

Pracuj, a teraz bywaj zdrów (*wychodzi*).

KAZIMIERZ (*uchyla drzwi*).

Wandziu... Leon wyszedł... Wandziu!

WANDA (*wchodzi*).

Czego?

KAZIMIERZ (*nieśmiało*).

Wandziu... czy byś mnie kochała, gdybym stworzył rzecz wielką?

WANDA (*wyciąga ku niemu rękę*).

Tak, kochałabym cię, gdybyś chciał żyć i pracować szerzej!

KAZIMIERZ (*cicho*).

Więc będę pracował...

WANDA (*uradowana*).

A życie nasze będzie równoległym rozwojem dwu samoistnych organizacyi.

KAZIMIERZ (*cicho*).

A czy zechcesz być moją... kochanką?

WANDA (*wstrząsa się*).

Może później... teraz nie! nie! (*serdecznie*) Idź teraz, Kaziu (*oczy gorączkowo jej błyszczą*) Wyjdź! chcę grać! tworzyć!

KAZIMIERZ (*smutno*).

A potem?... pozwolisz mi przyjść?

WANDA (*zbywa go*).

Dobrze! Dobrze! potem! (*popycha go zlekka, zamyka drzwi*).

WANDA (*wznosi ręce w górę*).

Muzyka! Życie! (*siada przy fortepianie, gra — dziesięć minut upływa*).

KAZIMIERZ (*za drzwiami*).

Można?

WANDA (*chwyta się za głowę*).

Znowu! Znowu! Myśl mi ginie... rozprasza się... a! gdyby on wiedział, zabija mnie.

KAZIMIERZ (*j. w.*)

Można?

WANDA (*głosem drżącym rozdrażnieniem*).

Czego chcesz?

KAZIMIERZ (*wchodzi*).

Wandziu! Skończ! Chodź, chciałem pracować... nie mogę...

WANDA (*błędnym wzrokiem*) Nie przeszkadzaj!

KAZIMIERZ (*śmieje się*).

Natchnienie?... Rzuć te gryzmoły, potem dokończysz.

WANDA (*gwałtownie, z pospiechem, z trwogą wymykającej się myśli*).

Nie mogę... nie mogę... Na Boga! nie przerywaj! Tyle tonów... Taki chaos mam w głowie... odejdź, bo przepadnę!.,.. Odejdź!

KAZIMIERZ.

Tak długo jestem sam... tęsknię za tobą... bożyszcze moje!

WANDA (*gwałtownie, z rozpaczą rzuca ołówek*).

Dopiął swego! Wszystko uciekło! Wszystko urwane! Już minęło! Nie wróci! (*z gniewem*) precz ztąd!

kować o powodach rozpuszczenia reprezentacyi gminnych, wszakże warto przypomnieć, że nie wolno ani jednej rady gminnej rozwiązać bez zezwolenia sejmu. Jaką to rolę grają ludzie, którym naród powierzył tak ważne urzędy!

„Czas więc najwyższy, abyśmy do sejmu wybrali innych ludzi, którym zależeć będzie na rozwoju moralnym i materyalnym społeczeństwa.“

* * *

„Srpski Glas“, wychodzący w Zagrzebiu, pisze w korespondencyi z Dubrownika:

„Nie wiemy odkąd się wzięli Chorwaci w Dubrowniku, bo Dubrownik jest prastarem miastem serbskiem, a nasi bracia katolicy, nazywają się Serbami-katolikami i w tymże duchu serbskim redagowany jest katolicki tygodnik serbski „Dubrownik“. Chorwatami są Serbowie, którym od pewnego czasu spodobało się narodowość zmienić w tym celu, aby jako Chorwaci lepiej mogli być zapisani u rządu, który Serbów posądza o idee wielkoserbskie. Mamy tu rodziny emigrantów z Czarnogóry. Zbroiwszy coś w Czarnogórze schronili się na terytoryum austryackie i uchodzą za Chorwatów, rzucając wielkie kalumnie na Czarnogórę, na którą z dumą każdy Serb spogląda.

„Mówimy wszyscy jednym językiem, jedne chrzestne nosimy imiona i równe mamy obyczaje, a więc jesteśmy jednym narodem. Różnica wiary nie była zdolna nas rozdzielić. Katolicy i prawosławni wiedzą, że są Serbami i tego się nie wstydzą. Zkąd więc się to naraz wzięły te przemądre głowy, które wywodzą, iż kraj nasz chorwacki? Co to panowie potrafili nas rozdwoić i utworzyć dwa obozy, które się wzajemnie ku obopólnej szkodzie zwalczają.“

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

NEOROMANTYZM.

Kierunki w Królestwie mają swoją żywotność, niezależną od postronnych wpływów, jeżeli tylko są wyrazem uczuć i potrzeb nie ulegających przedawnieniu.

Dowód takiej żywotności mamy na romantyzmie. Zdawało się przed ćwierć wiekiem, że upadł on na zawsze pod potężnemi ciosami realizmu, który miał takich mistrzów jak Goncourt'owie i Flaubert, że ostatecznie przygnębiony został „Maczugą“ Zoli. Szyderstwami obrzucali go nawet właśni wyznawcy. Dowcipny Heine, opisując romantycznego bohatera, dawał mu odwagę dziesięciu lwów a rozum osła. Potępiano romantyzm w imię prawdy, zdrowego rozsądku, moralności. Śpiewano mu *de profundis* na wszystkie tony, a pomimo to, po kilku dziesiątkach lat, odzywa się on z nową siłą. Przez czas nawet wyłącznego panowania realizmu nietrudno było odnaleść jego ślady w autorach, obdarzonych dość silną indywidualnością, by iść za popędem własnych natchnień, nie pytając o literackie mody.

Romantyzm ma strony różnolite, a pomiędzy niemi jedną z głównych jest bunt przeciwko uświęconym zwyczajom mieszczańskiego porządku w życiu zarówno jak w literaturze. Wydaje on wojnę tak zwanemu filisterstwu, które samą siłą rzeczy rozpierać się musi zwycięzko pod panowaniem realizmu, z którym jest ściśle złączone swym poziomem i dążnościami.

Mówiąc o realizmie, mam na myśli znamienne utwory tej szkoły, wykluczając wszelkie ideały, nie zaś wpatrywanie się w naturę, bez której sztuka istnieć nie może, mam na myśli nie metodę, ale kierunek.

Realizm stawia naprzeciw rzutkim, bujnym, łamiącym wszystkie konwencyonalne węzły bohaterom, mieszczuchów rozważnych, spokojnych, dobrze odżywianych, umiejących robić interesa, rzuca kamieniem na wykolejonych. będących zawadą społeczną, niepowodzenie kładzie na karb nieudolności i tym sposobem odmawia im nawet współczucia.

Wogóle realizm, którego korzeni szukać trzeba w filozofii pozytywnej, nie jest dla nieszczęśliwych łaskawym. Nieszczęśliwi musieli na swój los zasłużyć, stosuje on do nich z doktrynerską bezwzględnością deteministyczną zasadę przyczyn i skutków, zapominając, że postronne wpływy krzyżują i plączą nieraz wypadki w ten sposób, że przyczyny i skutki występują wzajem do siebie w stosunku nieproporcyonalnym, jak n. p. grudka piasku do lawiny przez nią spowodowanej. Uznając spełnione fakta jako konieczne, sprzyja wszelkiego rodzaju zwycięzcom, sankcyonuje brutalne *vae victis* i przyznaje mu nawet racyę bytu w dziedzinie moralnej. Pochlebia sytym, spanoszonym, tryumfującym, daje im przekonanie, że siła wytwarza prawo, że sama przez się jest prawem, a tem samem niweczy abstrakcyjne pojęcie sprawiedliwości, które nad faktami panować powinno i być sumieniem świata.

Idee mają także swój realizm, wcielają się w swych wyznawców i zą ich pomocą przeważają nieraz na szali wypadków. Krzewiciele doktryn szlachetnych są także, i więcej może, dobroczyńcami ludzkości, niż owi wynalazcy, którym, według Buchle'a, należy się dane jedynie uznanie. Oni to, jak słusznie dowodzi Guyan, wytwarzają środowiska wedle swych pojęć, środowiska, mające nieobliczoną doniosłość.

Na początku tego wieku widzieliśmy, jak takie szlachetne pojęcia przeciwdziałały brutalnym instynktom, modyfikowały je niekiedy, przynajmniej ocalały ideały, a jeśli te nie miały faktycznego istnienia, zapowiadały ich tryumf chociażby w dalekiej przyszłości.

Dziś nieszczęśliwym odjęto nawet nadzieję. Uznano ich za bezsilnych, a tem samem nie mających prawa bytu. Nietylko muszą, ale powinni ustąpić przed prawem pięści. Nie ma co litować się nad losem skazanych, choćby w nich były wcielone najpiękniejsze wytwory myśli i uczuć. Ginąć muszą, skoro nie umieli się bronić.

Podobne hasła, bez względu na ich pozorny racyonalizm, musiały wywołać protesty, tem bardziej, że fatalistyczny determinizm wyrobił teoryę, iż człowiek z siłą i samowiedzą ma prawo do tego wszystkiego, co pożąda, że może i powinien, uczyniwszy sobie podwalisko ze współbliźnich, deptać ich w imię swej mniemanej wyższości. *Nadczłowiek* Nitsche'go jest usankcyonowaniem wszelkiego bezprawia, stanowi potworny pomnik samolubnej pychy.

Na chwałę ludzkości przyznać trzeba, iż znajdują się zawsze obrońcy sprawiedliwości, którzy choćby nawet w danej chwili nie znaleźli uznania, choćby byli pomijani i wyszydzani, ocalają jednak idee, przechowują je niby żar pod popiołem do przyjaźniejszej chwili, kiedy znów będą mogły zajaśnieć całym blaskiem.

W społeczeństwach, nawet najlepiej urządzonych pod względem materyalnym, tam, gdzie każde chętne ręce znajdą pracę, a każda inteligencya swe zużytkowanie, odzywały się zawsze głosy na korzyść biedaków, którzy się w kluby i poprzęgi machiny społecznej ująć nie dali, dla których poprzęgi okazały się zbyt ciasne, którzy stanowili rodźwięk wśród sharmonizowanych stosunków, a odrzuceni i pogardzeni przez współbliźnich, byli nieraz w gruncie więcej od nich warci.

Dickens był mistrzem w malowaniu podobnych postaci. Maluczcy, ciszy, senzytywni, uciskani przez twarde warunki bytu, byli

---

KAZIMIERZ (*biorąc ją w objęcia*).

Wandziu, nie gniewaj się. Ja cię tak kocham!

WANDA (*w szale wyrywa mu się*). Tak — miłość! W imię jej przychodzisz burzyć to, czego jeszcze nie ma i co musi! Pod grozą obłędu musi powstać! O ty umiesz kochać? (*gwałtownie*) Zostaw mnie samą! Czy nie widzisz, w jakim jestem stanie?

KAZIMIERZ (*serdecznie*).

Chcę cię uspokoić!

WANDA (*gwałtownie*).

Ależ ty mnie drażnisz! drażnisz! Błagam! zostaw mnie samą.

KAZIMIERZ.

To samotność cię roztraja: a ja...

WANDA (*z szyderstwem*).

Wrócę ci równowagę gruchaniem miłosnem! Wiedz, że nie ty mi jesteś potrzebny, ale samotność! Samotność jest mi prawem! koniecznością! Zginę, jeżeli gwałcić będziesz moją naturę! A robisz ciągle! Ach, ty! Gdybyś mnie chciał nienawidzieć, uczyniłbyś mi łaskę! Być kochanym, to zbyt często stać się niewolnikiem tych, którzy nas kochają! Dosyć tej katuszy! Precz z miłością ludzi! Jeżeli kochasz, czyń mi dobrze!

KAZIMIERZ.

Ja tak pragnę być ciągle z tobą! Zawsze! Bądź dobrą dla mnie Wandziu!

WANDA (*gorzko*).

Bądź dobrą! Naturalnie! co to za egoizm i okrucieństwo płacić złem za dobre! A dobrem jest miłość ludzi, bez wyboru! Tak zwykliście mówić! Że ta miłość jest aż nadto często wstrętną i zabójczą, że nas krępuje na każdym kroku, że nas wyzuwa z możności swobodnej pracy i ruchów swobodnych, że nas dręczy, to egoizm! Rzecz niesłychana! A jabym chciała, byście wszyscy dla mnie byli obojętni! Obojętność ludzi, to warunek wolności moralnej i życiowej!

KAZIMIERZ (*gwałtownie*).

Więc ty mnie nie kochasz?

WANDA (*t. s*).

Znienawidzę cię za twą miłość stonogą, czepiającą się mnie, lepką, liżącą, despotyczną!

KAZIMIERZ.

Despotyczną! — Kto kim rządzi? — Jesteś jedyną moją myślą, osią życia, bóstwem, panią wszechwładną, patrzę ci w oczy, by zgadnąć twe myśli; czas po za tobą zapełniam myślą o tobie! poświęciłem się dla twego talentu, oddałem mu swój! A ty mi tyranią wyrzucasz!

WANDA (*gwałtownie*).

Uwolń mnie raz od twych poświęceń! I od tego rozkochania także, i pieczołowitości, i ciągłego odnoszenia się do mnie! Nie znoszę tego ustawicznego zastawiania na mnie sideł troskliwości, okręcających mi stopy, krępujących ruch każden. Ależ to męczarnie, nie módz się obrócić bez spotkania się z tym samym roztkliwionym wzrokiem, nie módz wstać bez wywołania pytania, gdzie idę? Zostawże mnie samą! Nawet, myśl twoja o mnie zaczyna mnie drażnić! W samotności nie jestem sama, ciągle mnie prześladuje wstrętna wiadomość, że ci mózg zaprzątam, lub że przychodzisz przerwać mi ciszę, lub że lada chwila przyjdziesz! Gdy gram drżę, byś mi nie przerwał tworzenia, nie urwał prądu dźwięków, który mnie porywa! Odwracam się niekiedy z dreszczem, bo mi się zdaje, że stoisz za mną i schylasz się, by mi kark obdarzyć pocałunkiem! Nie męcz mnie, nie zabijaj, nie krępuj swą czułością i nieznośną opieką!

KAZIMIERZ (*rażony, zły, zmięszany*).

Czego ty chcesz odemnie?

WANDA.

Czego? byś nie wyjaławiał siebie tym czczym, bałwochwalczym, bezmyślnym erotyzmem, byś był duszą samodzielną i nie gubił sił w zatapianiem się w manią, a mnie, krępowaniem mej swobody! Chcesz być wszystkiem dla mnie! Jakże czemkolwiek może być człowiek, zajęty myślą pieszczot jedynie! Machina miłosna! Ależ ten twój fetyszyzm jest dziki i poniża ciebie, a mnie upokarza i drażni. To nawet nie egzaltowana postać uznania i zrozumienia; bo ty mnie ani znasz, ani odczuwasz. To tylko ciągle czujna żądza zmysłowa! Ten

zawsze przez niego kochani. Stawiał ich w położeniach odpowiednich, ażeby mogli wykazać swoje przymioty. Ratowali oni zwykle w potrzebie ludzi, będących w zgodzie ze swem społeczeństwem, ludzi, co stanowili jego filary, a jednak pomimo swej życiowej mądrości, w danej chwili stawali się ofiarami jego niemiłosiernych urządzeń.

Dickens zdaje się twierdzić: Niech sobie urządzenia społeczne będą nieubłagane, ludzie powinni je łagodzić w przystosowaniu. Zdarzają się zaś takie wypadki, w których sędzia, jeśli jest człowiekiem, musi wybierać pomiędzy słusznością a prawem, między własnem sumieniem a kodeksowym artykułem. Biada tym, co tego nie pojmują, a stokroć większa biada tym, co są od nich zależni i mają do czynienia z istotami, działającemi na wzór i podobieństwo kół w mechanizmie społecznym".

Taką postacią jest w Dawidzie Copperfieldzie pan Madstone, ojczym bohatera. Wiadomo, iż w tytułowej postaci autor przedstawił samego siebie, odmalował wszystkie cierpienia, jakie przeszedł wraz z matką pod władzą tego nieubłaganego człowieka. Nie był on jednak złym wcale, przeciwnie, miał przekonanie, że święcie spełnia swoje obowiązki, gdy zmuszał żonę, ażeby ona także twardą była dla dziecka, wbrew własnej i jego naturze. Stosował on tylko zasady, w które wierzył, niczem ich nie łagodząc.

Matka Dawida umarła zmiażdżona despotyzmem drugiego męża, a dziecię przez całe życie zachowało w charakterze ślady jego wpływu. Dickens lata dziecinstwa wspominał zawsze z dreszczem wstrętu.

Zapewne więc własne doświadczenie uczyniło go tak tkliwym na cierpienia istot, pokrewnych sobie uczuciem i usposobieniem, które umieszczał w każdej niemal ze swych powieści. W „Ciężkich czasach" Cecylia, córka cyrkowego skoczka, przygarnięta przez człowieka podobnego do Mardstone'a, staje się aniołem opiekuńczym całej jego rodziny, kierującej się najgorzej dzięki wychowaniu, w którem pominięto z umysłu serce, wyobraźnię i wszystko to, co wpływa na uszlachetnienie człowieka.

Cecylia nigdy się do zimnych przepisów tego wychowania zastosować nie mogła. Całe życie tęskniła za cyrkiem, gdzie pieścili ją wszyscy, a choć nieraz cierpiała niedostatek, miała zawsze w koło siebie bijące serca. W domu, do którego weszła, uważano ją za upośledzoną, bo zachowała uczuciowość niezmrożoną otaczającym chłodem, zamknęła ją więc w głębi duszy i właśnie dzięki jej odwdzięczyła się dobroczyńcom.

Dickens idzie za nauką św. Pawła, u niego wszystko jest niczem wobec uczucia. Kto go nie posiada, nigdy prawdziwie życzliwym nie będzie, braknie mu zawsze tej ożywczej siły, która porusza serca i zdobywa przekonania.

Myśl tę wypowiedział on wyraźnie w fantastycznej noweli „Nawiedzony". Fantastyczność u Dickensa była zawsze przezroczystym symbolem, za pomocą którego uwydatniał swoje tendencye. W noweli tej człowiek nieszczęśliwy przez całe życie, nawiedzany jest wiecznie widmem wspomnień. Błaga więc, by mu one odjęte zostały raz na zawsze. „Dobrze, odpowiada mu widmo, które ściga go zawsze we śnie i spoczynku, zapomnisz o tem doznanem i zapomnienia tego udzielisz wszystkim, co się do ciebie zbliżą, ale pamiętaj, ażebyś nie pożałował tego, co utracisz".

Któżby żałował pamięci minionych bólów? A jednak tak się stało. Wraz z ich pamięcią ulotniło się z duszy nawiedzonego, zrozumienie cudzych cierpień i współczucie dla nich. Wie on, że obowiązkiem jest nieść im osłodę i czyni to, ale tylko jako powinność. Zatracił dar przemawiania do serca nieszczęśliwych. Czyniąc dobrze, sam nie doznaje pociechy, odpycha, zamiast pociągać tych, którym pomoc niesie. Ludzie patrzą na niego, słuchają i nie poznają człowieka, znanego z gorących uczuć.

Niedość na tem, w koło siebie szerzy on nieszczęście. Pod jego zbliżeniem rozluźniają się serdeczne węzły, obojętnieją względem siebie członkowie kochających się rodzin, bo znikł czynnik, który najwięcej jednoczy ludzi, wspólnie zniesione cierpienia. Zniszczymy w społeczeństwie działanie uczucia, chociaż jest ono nieraz źródłem bólu, a zniszczymy to, co jedynie urok życiu nadaje.

Uczucie przeciwstawione rozumowi stanowi jedną z cech romantyzmu, który zresztą zrodzony w Anglii, miał tam zawsze wyznawców. Trzeba też zaznaczyć, że Dickens nigdy nie przekraczał w uczuciowości miary właściwej, nie wpadał w przesadę, jakiej dopuszczała się szkoła niemiecka.

Ulubieni bohaterowie Dickensa ograniczają się na tem, iż stoją w opozycyi z przedstawicielami surowej litery prawa, z wyrachowanemi filistrami, którzy uważają świat za tak wzorowo urządzony, iż stosunkom jego nic zarzucić nie można, dla tego to nie należy mięszać się do nich i podtrzymywać przez źle zrozumianą filantropią żywiołów, skazanych własną nieudolnością na zagładę. Ci, co nie wstrzymają walki życia, powinni w jego areny wstąpić i zostawić miejsce silniejszym.

Z taką doktryną nie zgadzał się tkliwy Dawid Copperfield, ani Cecylia, ani cały szereg istot serdecznych, występujących we wszystkich prawie powieściach Dickens'a. Zalety te jednak nigdy nie stają w kolizyi z moralnością i z kodeksem. Przeciwnie, autor wyposaża je hojnie wszystkiemi przymiotami, ażeby lepiej wykazać, że źródło ich leży w sercu. Bohaterowie Dickens'a są w zgodzie ze społeczeństwem, dokładają wszelkich sił, aby mu nie być ciężarem, cisi, skromni, często wyzyskiwani, nie ocenieni, nie skarżą się nigdy, ustępują z drogi natarczywym, nie wysuwając się na pierwsze miejsce. Za to są oni pierwszemi tam, gdzie jest jaki obowiązek miłosierdzia do spełnienia, niosą pomoc gdzie mogą i czem mogą, nie szczędząc czasu, choćby odkradzionego snowi, jeśli nic innego bliźnim dać nie są w stanie. Autor kreślił ich z miłością, jakby na wzór i unikał wszystkiego, coby mogło jakikolwiek cień na nich rzucić.

Inaczej postępuje nowelista amerykański Brettlarte. Jest on daleko radykalniejszym w swoich zapatrywaniach. Nienawiść do filisterstwa sądów jest u niego daleko silniejszą. Przytem społeczeństwo, do którego przemawia, jest odmienne, bardziej zanikłe w gonitwie za złotem, jest też bez porównania mniej skrupulatne co do środków i nie przestrzega granic zbyt ściśle uczciwości. Pojęcia amerykańskie są pod względem etyki o wiele liczniejsze od angielskich. Brettlarte zaś umiłował szczególniej włóczęgów, szulerów, pijaków, nierządnice, słowem, ludzi uważanych za wyrzutki społeczne i w nich upatruje cnoty, nie znajdujące się według niego w osobnikach reprezentujących porządne warstwy społeczne. Wyrzutki te są jedynie zdolne do miłości, poświęcenia i wzniosłych uczuć, których zwykle nie pojmują nawet filistrzy.

Pijak rozkochany w młodej nauczycielce, stojącej na czele szkoły, w oddalonej kalifornijskiej osadzie, okazuje jej swą miłość w sposób pełen dyskrecyi. Spogląda na nią tylko zdaleka, kwiaty, które ona lubi, podrzuca jej na okno, nie spostrzeżony od nikogo, bo oddaje sobie sam sprawiedliwość i nie chce ukochanej przynosić ujmy swem uczuciem.

Ta miłość nie jest jednak w stanie poprawić nałogowego biedaka, odrodzić, uczynić nowym człowiekiem. A gdyby nawet i tak było? Któżby tej poprawie uwierzył? Nie uwierzyłaby nawet ona, choć w sercu ma dla niego litość, graniczącą niemal z miłością.

Sielanka pomiędzy dwojgiem ludzi, rzuconych na krańce cywilizacyi, którzy spoglądali tylko na siebie ukradkiem, kończy się w sposób idealny. Ona zostaje przeniesiona do innej

---

ustawiczny żar miłosny, bijący od ciebie, napełnia mnie odrazą! Nie jestem kokietką, której próżności byś schlebiał! Nie jestem kobietą zmysłową, którą byś elektryzował. Nie jestem wyłącznie kobietą, której życie by zapełniał mężczyzna! Mnie potrzeba szerokiego życia myśli, uczuć ogólnych, swobodnych twórczości. Do mnie świat cały należy i ja należę do świata, a ty chcesz bym była tylko twoją! I czy ci o duszę moją chodzi? Mniejsza o nią, byle mieć ciało! I ty myślisz, że zniosę życie, którego treścią twe płaskie zachwyty?... że mi duszę zapełni twe dzikie i tępe bałwochwalstwo?... że zgodzę się na to, by być czarą, z której rozkosz pić będziesz, dogodzeniem twej chorobliwej żądzy, szczęściem twej pospolitości? I nie zrozumieszże, że istota moja buntuje się przeciw tobie, ślepej sile namiętności, która mojej wyższej zagraża, i że moje ja protestuje przeciw tej pokornej postaci, instynkta władzy mężkiej? Ależ ja zaczynam wstręt mieć do ciebie, nie miłość!

KAZIMIERZ.

Depcz! Jesteś o tyle silniejszą, że nie kochasz! O, wy umiecie być bezlitosne, gdy się jest tak głupim, że się dla was szaleje!

WANDA.

To, co się wydaje okrucieństwem, jest tylko brutalną, lecz przypierającą do muru konieczności. Jeżeli ty kochasz, tobie twa miłość wystarczać może. Lecz jakże chcesz, by twoja dusza w której jest tylko żądza mnie, mnie wystarczała! Wszak to być nie może! Zająć może organizacya samoistna, żywa sama w sobie, żyjąca podobną naszej, wszechstronnością i siłą. Lecz jakże ma być dla nas wszystkiem odbicie nas samych w innej duszy, bierna rolą kochanej!

KAZIMIERZ (*cierpko*).

Skończ z analizą, albo szukaj za jej pomocą przyczyn rzeczywistych twego wstrętu do mnie. Z innymi rozmawiasz godzinami, a w towarzystwie Karola masz ożywioną twarz, swobodny uśmiech, serdeczne słowo. Tylko dla mnie jesteś rozstrojoną i gorzką.

WANDA.

Tak! bo oni są żyjącymi ludźmi, bo należą do tego samego, co ja, umysłowego świata; bo nas łączy wspólność myśli, a mózgi nasze oddziaływają na siebie rozbudzająco i ożywczo.

KAZIMIERZ.

Ha, ha! pięknie umiesz mówić! O jesteś tylko kokietką, której się sprzykrzył mąż, i która szuka kochanka. To klucz zagadki!

WANDA (*błędnym z oburzenia wzrokiem patrzy na niego, hamuje się, przez zęby z pogardą*).

Gadzie! pospolitości błotna i marna! (*z rozpaczą*) Ja oszaleję wśród tych ludzi!

KAZIMIERZ (*chwyta ją w objęcia, z żalem*).

Wando, jam podły, przebacz!

WANDA (*odpycha go z pogardą*).

Przepraszaj, bo przy tem całować możesz! Obrzucaj mnie całem błotem twojej i twych braci, pełzającej po gnojowiskach życia, myśli! Zatruwajcie mnie robaki wylęgłe w bagnie! Spychajcie mnie w wasz dół cuchnący, bo sami w nim żyjecie! Zarażajcie mnie dżumą moralną waszych brudów! (*odpycha go, przysuwającego się znowu*) Precz! Nie tykaj mnie twymi lubieżnymi ustami! Precz, słyszysz?

KAZIMIERZ (*zjadliwie*).

Czy się w ten sposób bronisz od pocałunków Karola?... Ha, ha! wierzę ja waszej przyjaźni.

WANDA (*gwałtownie uderza go w policzek*).

Więc wierz mej pogardzie!

KAZIMIERZ (*osłupiony*).

WANDA (*chwyta się za głowę*).

A nie. Dłużej nie zostanę z wami... Oni zwierzę ze mnie zrobią... (*Wybiega, wraca do fortepianu, chce zabrać papiery.*)

KAZIMIERZ (*chwyta je*).

Tego nie dostaniesz! (*dziko*) Ha! ty mną poniewierać będziesz?... Zemszczę się... zemszczę! Masz! niech ginie twoje dzieło! (*drze gwałtownie papiery*).

WANDA (*nieruchoma, blada, hamuje się, odchodzi*).

KAZIMIERZ (*rzuca się do niej*).

Zostaniesz! (*chwyta ją*).

WANDA (*z głuchą wściekłością*).

Precz, nie tykaj mnie!

miejscowości, a on powierza jej swe dziecię. wychowa je z pewnością lepiej od niego. Rozchodzą się, nie wypowiedziawszy nigdy tego co czuli, złączeni jednak na zawsze dziecięciem, nad którem ona czuwać obiecała.

Walerya Marrené Morżkowska.

(Dokończenie nastąpi.)

O „Rodzinie Połanieckich".

Od kilkudziesięciu lat prowadzi się nieustanną podjazdową walkę przeciw rozwielmożnieniu się powieści. Pomijając już moralistów, oskarżających ją (często i słusznie) o wszelkie zbrodnie i występki, nie było chyba krytyka literackiego, któryby na karb jej rozpowszechnienia się, nie kładł objawiającego się coraz bardziej wstrętu do czytania rzeczy poważnych. Wszystkie jednak ekskomuniki, rzucane na powieść, wszystkie przeciw niej tyrady i wywody, nie osiagnęły celu: kroczy ona naprzód w tryumfalnym pochodzie, a rzesze spragnione rozrywki umysłowej wyciągają do niej ręce, nie zwracając nawet uwagi na piorunujące kazania jej przeciwników.

Ze zwycięztwem powieści, jako formy literackiej, liczyć się należy, trzeba je przyjąć jako fakt spełniony. Wszelkie protesty na nic się tu nie zdadzą, bo wyrok zapadł w najwyższej instancyi: u czytającej publiczności, Jest to objaw zresztą naturalny. W naturze ludzkiej leży większy pociąg ku temu, co bawi. niż ku temu, co uczy, lub każe myśleć, zastanawiać się. Popyt zaś na powieść zwiększa jej podaż, ztąd z małym wyjątkiem każdy prawie pracownik na niwie literackiej usiłuje się dostać na rydwan tryumfatorski i zagarnąć dla siebie część jej laurów.

Im więcej jednak dominującem jest stanowisko powieści, tem baczniejszą uwagę powinna zwracać na nią krytyka i publicystyka. Ślepym bowiem byłby ten, co zaprzeczałby jej potężnego wpływu. Nie idzie tu o umysły inteligentne. co mając wyrobione zasady i poglądy, traktują powieść jako przyjemną zabawę dla wyobraźni, szukają w niej tylko wrażeń artystycznych, ale o te najszersze koła, dla których iest ona często jedynym pokarmem duchowym, zastępującym ambonę, kierownika i nauczyciela. Te szerokie koła, składające się przeważnie z kobiet i młodzieży, ulegają wpływowi powieści, jako umysły po największej części słabe i niewyrobione. Wierzą w apostolstwo autora, przejmują się jego tendencyami i zapatrywaniami, przez jego okulary patrzą na świat i społeczeństwo, wyrabiają sobie poglądy złe lub dobre, tworzą dla siebie kodeksa moralne i społeczne. I w tem leży wielka częstokroć zasługa powieści, w tem też leży i jej szkodliwość. Ztąd i zadanie krytyki jest podwójne — obowiązkiem jej oceniać nietylko artystyczną, ale i etyczną wartość powieści.

Świetnym, mistrzowskim wzorem takiej krytyki są „Listy o Zoli" Sienkiewicza. „Każda książka to czyn — pisze znakomity powieściopisarz — cały zaś ich szereg, zwłaszcza napisany w imię jednej myśli przewodniej, to zadanie życia spełnione, to uroczystość dożynek, podczas której przodownikowi służy prawo do wieńca i do pieśni: Plon niesiem, plon! Ale oczywiście zasługa zależy od plonu"... I dla tego znakomity powieściopisarz ostro występuje przeciwko Zoli i jego towarzyszom za sporządzanie „nadmiaru trucizn", za przytępianie zmysłu moralnego. Po znakomitej analizie „doktora Pascala" Zoli, woła Sienkiewicz z całą potęgą przekonania: „dziś zaczadzonym trzeba świeżego powietrza, wątpiącym nadziei, targanym niepokojem trochę spokoju... Powieść powinna krzepić życie, nie zaś podkopywać, uszlachetniać, nie zaś plugawić, nieść dobrą nowinę, nie zaś złą.

Święte słowa, a zwłaszcza w naszem położeniu. Jeżeli komu to nam trzeba „świeżego powietrza", bo od stu lat przeszło przebywamy ciężką chorobę, jeżeli komu, to nam „wątpiącym" potrzeba „nadziei", bo wszystko się składa, aby ją nam odebrać. Jeżeli gdzie, to u nas każdy pisarz powinien się czuć nietylko artystą, ale i obywatelem, bo nam nie wolno poprzestawać tylko na rozkoszy artystycznej. A im większy pisarz, im większy jego talent, tem większe mamy prawo wymagać od niego, aby utworami swojemi krzepił życie, uszlachetniał je, niósł dobrą nowinę...

Dla tego też spisując wrażenia, odniesione przezemnie z przeczytania „Rodziny Połanieckich", pragnąłem nietylko dotknąć wartości artystycznej powieści, ale i jej strony etycznej, obywatelskiej.

* * *

Przypuszczam, że mało znajdzie się kto pomiędzy czytelnikami, któryby już nie znał najnowszego utworu Sienkiewicza, albo o poznanie się jego nie starał, a to mi pozwala na wypowiedzenie od razu moich wrażeń, bez streszczania fabuły.

„Rodzina Połanieckich" napisana po mistrzowsku, po sienkiewiczowsku, pełna świetnych drugoplanowych figur, dysząca miłością, opromieniona poezyą, tryskająca dowcipem, obejmująca całą skalę twórczości od lirycznej sielanki do ponurego dramatu, niepozbawiona i głębszych refleksyi, oparta na podkładzie psychologicznym, wyposażona w nowe typy i charaktery, imponująca często obserwacyą życiową i doprowadzonym do szczytu kunsztem pisarskim, — nie tworzy jednak dobrze zbudowanej całości, nie wzbudza sympatyi dla głównych bohaterów, z początku zajmujących i dobrze narysowanych, ale zmniejszających się niebawem w parę mdłą, pospolitą, banalną.

Powieść rozpada się na trzy części, a dwie powieści, z których każda stanowi dla siebie całość. W chwili, kiedy eteryczna dziecinna Litka na łożu śmiertelnem łączy Połanieckiego z Marynią, mógłby autor napisać koniec — i powieść byłaby gotowa. Kilka następujących rozdziałów byłoby tylko jej uzupełnieniem. uzupełnieniem nie koniecznem, ale miłem dla czytelników, niechcących się tak prędko rozstać ze sympatycznem kółkiem zacnych ludzi. Z rozdziałami temi znikają postacie, do których przywiązywała się nasza myśl i wyobraźnia. Litka umiera, po niej schodzi do grobu dekadent, a jednak sympatyczny Bukacki, Pławicki, ojciec Maryni, wypełnił całkiem swoją misyę, Bigielów już lepiej nie poznamy, Emilia, matka Litki, usuwa się od świata, dalsze dzieje Maszki mogą nas już wcale nie obchodzić. Na zakończeniu powieści zyskaliby Marynia i Połaniecki, z którymi już w tych dodatkowych rozdziałach nieco zrywamy zadzierżgniętą nić sympatyi. Bez tych rozdziałów rozstalibyśmy się z nimi z zupełnem zadowoleniem, że połączyła się na drogę życia para ludzi młodych, energicznych, dobranych, dających niejaką gwarancyę, że seryo patrzeć będą na świat i obowiązki. Z temi rozdziałami rodzi się w nas podejrzenie, czy energia, dobroć, wyższość umysłu, szlachetne dążenia Połanieckiego i Maryni nie są tylko pozorami, czy wiary w te ich przymioty nie nabyliśmy przez suggestyę autorską, czy zamiast znajdować się w kole dusz wybranych, nie wpadliśmy w świat jeżeli nie blichtru, to zwyczajnego filisterstwa, którego ideałem zaspokojenie codziennych potrzeb, zadowolenie ze zdawkowych przyjemności życia.

Tymczasem powieść toczy się dalej, a figury epizodyczne, drugorzędne, jak Maszko, Osnowscy, zaczynają spychać Połanieckich na plan dalszy. Przyłączają się do nich inne, jak Broniczowa, Kopowski, a zwłaszcza Zawisłowski i Lineta Castelli. Miłosne dzieje tej ostatniej pary składają się na drugą powieść, całkiem odrębną, z odmiennem tłem i z ludźmi innego świata i pokroju. Jeżeli przed chwilą podejrzywaliśmy, czy nie ulegliśmy złudzeniu co do wartości Połanieckiego, to przebywszy podwoje pani Broniczowej, nie mamy już żadnych po-

---

KAZIMIERZ (*szydersko*).

Silniejszy jestem od ciebie, moja pani, uczynię z tobą, co zechcę!

WANDA (*szamocze się*).

Samcze rozbestwiony!

KAZIMIERZ (*szydersko*).

Mów co chcesz! Dotąd cię kochałem, teraz... (*dziki*) nienawidzę ciebie, i twoją siłę, i twoje dzieła! I zniszczę cię... zniszczę doszczętnie! Odpychałaś moją pokorę, będziesz niewolnikiem mych gwałtów. Zniszczę i zgubię ciebie, i moc twoją, i duszę — wszystko! Nie chciałaś być panią, męczenniczką będziesz i sługą!

WANDA (*szarpie się, śmiejąc dziko*).

Zapomniałeś, że umiem się bronić! Precz! puść mnie!

KAZIMIERZ (*szyderczo*).

Tak?... Nikogo w domu nie ma. Jesteś w mej mocy! Twoja „duchowa" siła niech cię broni przed moją brutalną!

WANDA (*wyrywa się gwałtownie, rozpoczyna się walka, ona z zaciśniętymi wargami, blada, mocuje się z nim, trzymającym ją w pół*).

KAZIMIERZ.

Upokórz się!

WANDA (*ochryple*).

Przed kim? Bestyą?

KAZIMIERZ (*rzuca ją na kolana*).

Ha, ha! klęczysz przedemną! W mojej mocy! (*uderza ją pięścią w głowę*) Nie walcz ze mną! Nie walcz z siłą! (*Wanda upada na twarz, omdlała.*) Ha! teraz nic nie mówisz! To za krzywdy! (*pochyla się, chwyta za głowę i ucieka z wyciem*) Umarła!

Akt II.

(Rzecz na wsi, u rodziców Leona, pp Wirskich.) Salon, piją kawę po obiedzie.

WIRSKA (*zwraca się do Wandy*).

A teraz po obiedzie może byś nam co zagrała, Wandziu?...

WANDA (*z ukrytą niechęcią*).

Cociu, jam tak nieusposobiona.

JOZEF (*lat 30, szatyn*).

Więc pani gra?

WIRSKI (*lat 60, tłusty, opalony szlachcic*).

Mój kochany, wracasz z Warszawy, a nie słyszałeś nic o pani Wandzie, słynnej naszej kompozytorce, polskim Liszcie?

JOZEF.

Ja w Warszawie mam inne zajęcia, niż bywanie na koncertach lub czytanie Kurjera.

WANDA.

Zresztą warszawska reklama!

LEON (*siedzący obok niej, nachyla się szyderczo*).

Poznaję w pani wyższą istotę po jej skromności....

WANDA (*niedbale, z ironią patrzy na niego, odwraca się*).

JOZEF (*namyśla się*).

Zaraz... czyby pani była tą artystką, o której mówiono, że jej mąż...

WANDA.

Przepisywał tytuł własności swych utworów?...

JOZEF.

. . . i której sprawę rozwodową prowadził Leon?

WANDA.

Tak! (*zwraca się ku Leonowi*) Za co mu mam nieskończoną wdzięczność i nieopisane zdumienie...

WIRSKA.

Co cię zadziwia, Wandziu, w czynie Leona?

WANDA.

To, że bronił mojej sprawy, mimo że przedtem był mym nieprzejednanym wrogiem.

LEON (*nachyla się*).

Myślisz pani, że teraz jestem twym przyjacielem?

WANDA (*do niego z uśmiechem*).

Więc szlachetna zemsta?

LEON (*gorzko z myślą podwójną*).

Może osobisty interes, podjąłem się sprawy, w której tylko wygrać mogłem; zresztą może przegrałem, może wygrana nie warta była trudu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dejrzeń i żadnych złudzeń. Tu użycie we wszelkiej formie stanowi treść pragnień i zabiegów. Oprócz Zawisłowskiego i kilku epizodycznych postaci, wszystko tu zieje zgnilizną, wszystko jest fałszywe: zarówno arystokratyczność pochodzenia, jak porywy serca, zarówno wiara małżeńska, jak uznanie dla talentu. Kto wie nawet, czy nie jednym z lepszych w tem towarzystwie jest Kopowski, bo idąc za popędem namiętności nie rozumuje, a że kapitalnie głupi, więc nie można mieć do niego pretensyi, aby zdolnym był zrozumieć potrzebę poważniejszych celów życia. Połanieccy są tu całkiem zbyteczni: nic nie działają, do niczego nie służą, a tylko coraz niżej schodzą z piedestału, na którym ich postawił Sienkiewicz. Swoją drogą ta druga powieść, choć mniej sympatyczna od pierwszej, choć może zupełnie niesympatyczna dla „czułych serc“ i rozidealizowanych umysłów, jest obrazem świetnym, pełnym życia tych sfer, co nie są świetne i nie powinny mieć prawa do życia. Czuć, że w żadnej części, do tego stopnia jak w tej, wyobraźni autora nie pomagała tak znakomicie i na taką skalę rozwinięta obserwacya.

Ale kończy się ta powieść, a raczej Sienkiewicz chciał ją skończyć, urwać niecałkiem rozwikłaną, aby powrócić do Połanieckich. Można nawet przypuszczać, iż w pierwszym planie, w pierwszej koncepcyi powieści, Sienkiewicz nie miał zamiaru wprowadzać do niej pani Broniczowej i całego jej otoczenia, że ta druga część sama nawinęła mu się pod pióro, a obraz, jaki mu się przedstawił, tak go zajął, iż zapomniał o planie pierwotnym. O odstąpieniu od tego pierwotnego planu przekonywa nas i sam tytuł powieści, bo początek „rodziny“ Połanieckich, a raczej wstęp do niej widzimy dopiero przy końcu ostatniego tomu, a jest to początek jeszcze tak niewyraźny, bo kilkomiesięczny, że Bogiem a prawdą powiedziawszy, na „rodzinę“ Połanieckich będzie trzeba jeszcze poczekać. Rodziny nie ma, jest tylko w pierwszej połowie powieści pan Połaniecki, a w drugiej są państwo Połanieccy. Przypomniawszy ich sobie, powrócił Sienkiewicz z bocznej drogi na właściwy gościniec i zaczął pisać część trzecią, najkrótszą, w której znowu Połanieccy odzyskują swe dominujące stanowisko, ale nie odzyskują już tej sympatyi, jaką stracili, zbliżywszy się do salonowego bajoru pani Broniczowej. Patrzymy już obojętnie, jak wypogadza się niebo ich miłości i co najwyżej zdobywamy przekonanie, że po nowym obywatelu, co przybył na świat jako uzupełnienie „rodziny“ Połanieckich przybędą inni i to wkrótce, zwłaszcza, że Marynia sama nie karmi, a czulenia się małżonków dowodzą jasno, że im obcem będzie prawo Malthusa, równie jak niesympatyczne im będą najnowsze poglądy Tołstoja.

Tak wygląda budowa powieści. Jest wadliwą, bo zwyczajem dzisiejszym druk powieści postępował w miarę posuwania się pracy autora, a ten system najczęściej sprowadza uchybienie przeciw konstrukcyi. Jest wadliwą, ale gdyby nią nie była, stracilibyśmy obraz najwięcej drgający życiem, najwięcej posiadający świeżych rysów, najwięcej plastyczny, najwięcej olśniewający jaskrawością barw i najlepiej, najprawdziwiej malujący pewną sferę społeczeństwa, jej zajęcia, wyobrażenia, małostki i liliputcie ideały. Bez bolesnych przejść Zawisłowskiego, bez nieporównanej w swej paplaninie Broniczowej, bez „florencko-rzymskich“ wieczorów pani Anety, bez ciekawej nad wyraz i całkiem nowej Castelli, bez mydłka „Koposia“, bez oślepionego miłością Osnowskiego, bez całej tej farsy życia, kończącej się dramatem, musielibyśmy znów powrócić do łoża umierającej Litki i powiedzieć sobie, że z jej śmiercią skończyła się „Rodzina Połanieckich“.

Przyjrzyjmy się z kolei bohaterom powieści, Połanieckiemu i Maryni. Sienkiewicz chciał z nich wprawdzie zrobić ludzi zwykłych, normalnych, nie wyjątkowych ale w każdym razie z „dogmatem“, z pewną indywidualnością, z poglądami szerszemi. Że chodziło mu o dogmat, to widoczne ze wspomnień o Płoszowskim, którego przeciwstawieniem ma być Połaniecki. Ludzie ci się znali i Połaniecki przyznając przed sobą, że jest typem „mniej wytwornym, mniej uszlachetnionym i wogóle człowiekiem wyciosanym z grubszego materyału“ (II 132), przy dalszem porównaniu przyznaje przecież sobie wyższość: „Ostatecznie ja mogę się na coś przydać, podczas gdy on przydałby się tylko do postawienia na społeczną etażerkę z bibliotami. Ja potrafię chleb zdobyć, on potrafił tylko z gotowego kręcić gałki. Ja umiem i dobrze umiem farbować perkaliki, on umiał tylko farbować policzki kobiece... Ten człowiek przeanalizował swoje życie“ (tamże).

W Połanieckim ma się odbywać walka dobrego ze złem, walka, której podlegają wszystkie umysły więcej ruchliwe, żądne czynu, nie pozbawione własnej woli i energii, nie zrodzone „do gotowego“, ale stwarzające sobie same warunki życia. Z tej walki ma Połaniecki wyjść zwycięzko, ma tryumfować, dojść do równowagi serca i umysłu, ma do wyrozumowanych i uznanych przez siebie za dobre teoryi etycznych i społecznych, zastosować swą działalność, poddać pod ich władzę i kontrolę swe pragnienia, namiętności, być w zgodzie ze samym sobą, ze swojemi poglądami na świat, ludzi, rodzinę. Do tej zgody nie doszedł Płoszowski, ale bo też to była natura wyjątkowa, twór przerafinowanej cywilizacyi, roślina wyhodowana w cieplarni, sztucznie rozwijająca się, człowiek niezdolny do czynu, wypełniający życie przyjemnościami, jakich mu dostarczało bogactwo, chroniący się od nudów i przesytu kontemplacyą i drażnieniem nerwów. Połaniecki wyrósł w innej atmosferze. Choć równie jak Płoszowski, potomek starej rodziny, nie był jednak już w kolebce oblubieńcem fortuny, ztąd od zarania życia myślał o przyszłości, o zdobyciu sobie niezależnego stanowiska własną pracą i zapobiegliwością. Płoszowski bogaty z urodzenia, Połaniecki zdobywa pieniądze, tamten próżnował, ten oddaje się pracy, tamten z wiary przeszedł do sceptycyzmu, ten ze sceptycyzmu dochodzi do wiary, tamten oddawał się nieprawym miłostkom z rozkoszą i zadowoleniem, sądząc, że odbiera należny sobie trybut życia, ten czuje dla siebie pogardę po uwiedzeniu Maszkowej, tamten człowiek frazesu, ten czynu, tamten uciekał od ukochanej kobiety, ten za nią goni, tamten odebrał sobie życie, ten w nagrodę zdobywa sobie szczęście. I jeżeli Połaniecki jest takim, toć nic dziwnego, że Marynia „ma kobiece uwielbienie dla dzielności tego człowieka, który wszystkiego potrafił dokazać“ (III 478).

Ale Połaniecki nie jest takim. Mniejsza o to, że nazajutrz po prześlicznej rozmowie z Marynią w Krzemieniu, rzuca jej w twarz obelgę, bo czyni to pod wpływem rozdrażnienia; mniejsza o to, że sprzedaje swą wierzytelność, wiedząc, że tem samem wyrzuci Pławickich z Krzemienia, bo czyni to jeszcze w stanie rozdrażnienia i gniewu, bo jest to wina jego temperamentu, usposobienia, łatwo przerzucającego się w ostateczności. Zresztą żałuje swego uniesienia i to bardzo. Spotkawszy się z Marynią w Warszawie, czyni wszystko, aby zatrzeć niemiłe wrażenie, wyznaje winę, korzy się prawie na klęczkach, tarza się przed obrażoną i do żywego dotkniętą Marynią. Ale czyby to wszystko czynił, gdyby jej nie kochał, gdyby nim nie zawładnęła namiętność? To pytanie — przypuśćmy jednak, że tak samo postąpiłby bez wpływu rosnącej gwałtownie miłości. Mamy bowiem inne dowody jego dobrego serca. Przyjaźń bezinteresowna dla Emilii, przywiązanie do Litki dziwnie piękne, poczciwe, pełne poezyi, stosunek z Bigielami — wszystko to za nim przemawia. Gniewa nas dopiero na prawdę, kiedy zaczyna filozofować, kiedy połączenie się z Marynią zaczyna traktować jako obowiązek, kiedy czuje pewną do niej niechęć, a najwięcej, kiedy dawna czysta miłość przeradza się w pożądanie. Gra ono rolę i to bardzo niesmaczną w scenie oświad-

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Ciąg dalszy.)

Ze nie oszczędziłeś go pan i w twarz mu je rzuciłeś! — wtrącił Bergström.

Pauli spojrzał nań z uśmiechem.

Bynajmniej! — rzekł wesoło — to zepsułoby mi całą zabawę, pomijając już to, że naraziłoby mnie może na coś gorszego; z niektórymi ludźmi trzeba być bardzo ostrożnym. Nie, przeciwnie, wyraziłem mu moje żywe współczucie i żal, przyznałem, że napisanie listu do pastora, było czynem niegodnym, że nie wierzę, by tak surowo moralny charakter itd. itd. Zapewniam pana, znakomicie się ubawiłem, jednem słowem znakomicie!...

Wtem nadeszła Engelke... tu przerwał, patrząc złośliwie na Bergströma.

— No, a czy ona nie zepsuła panu zabawy? spytał tenże.

— Wszak ona sama ściągnęła dobrowolnie karę na swą głowę, bo gdyby nie ów list.... niczby nie było... Widocznie jednak czuła niesłuszność swego postępku, bo gdy wszedłem do jej pokoju, by ją zawezwać, drżała, zapewniam pana, na całem ciele... Wróciwszy znowu do Nörgaarda, podburzyłem go jeszcze trochę przeciwko niej, sam zaś, gdy przyszła, usunąłem się w kąt pokoju, z zamiarem zachowania się podczas tego, co miało nastąpić, zupełnie biernie... Przyznam się, że byłem nawet ciekaw, jak Engelke przyjmie wyrzuty Nörgaarda, bo z moich nic sobie, rozumie się, nie robiła... Teraz była cichą, potulną jak baranek — drżącą, łagodną, przybitą w poczuciu wielkiej swej winy. A chociaż on nie dobierał szczególnie wyrazów, ani słowa na własne usprawiedliwienie nie wyrzekła. Ja zaś tam w moim kącie czułem się zupełnie zadowolonym. Wie pan, może również zrobiłeś kiedyś to doświadczenie: jest „pewna przyjemność... ma to pewien, że tak powiem... urok przyglądać się, gdy człowiek przed czemś z całem namaszczeniem, z całą wiarą kornie chyli głowę, co zdaniem naszem jest blagą i kłamstwem! Doznaję tego samego uczucia na widok wielkiej bogobojności u ludzi szczerze wierzących... zupełnie to samo. Jakoś to człowieka przyjemnie drażni... tak, to może uczucie przewrotne, ale niemniej przyjemne, stanowczo przyjemne!...

— Co za cynizm niesłychany!

— Cynizm? jak pan to rozumie?

— Na cóż opowiada mi pan o tem wszystkiem? czy nie widzisz jak mnie tem dręczysz? Sądzi pan może, że nie pojmuję, jak okrutnie obeszłeś się z Engelką? czy tak?

— Ależ posłuchaj, mój drogi! — przerwał mu Pauli — pocóż mamy wzajem odgrywać komedyą; udane oburzenie pańskie zupełnie mi nie imponuje. Wie pan o tem dobrze, jaki istnieje między mną a córką moją stosunek: nienawidziła mnie zawsze — nie wiem dla czego, — lecz to odziedziczyła najpewniej po matce — a to oddziaływa zawsze na drugich. Byłoby zatem szaleństwem z mej strony gdybym udawał miłość ojcowską przed panem, który tak dobrze, znasz nasze stosunki domowe... czyż nie tak? Gdybyś nawet był w niej jeszcze zakochany, czego nie przypuszczam, przyznać mi pan musisz, że stojąc na moim względem niej stanowisku, znając jej uczucia dla mnie, najmniejszego nie mam powodu obchodzić się z nią inaczej, jak każdy inny obojętny człowiek. Nie może tu być mowy o jakiejś krzywdzie!

— A jednak tak jest! — przerwał niecierpliwie Bergström — postąpiłeś pan względem niej nie po ludzku! wiedząc o tem, jak jest wątłą, delikatną...

— Cóż uczyniłem takiego? zrobiła głupstwo olbrzymie, które ja na mojej skórze największej bym poczuł, z powodu — że tak powiem — koleżeńskiego z tym chłopcem stosunku — więc dostała burę. A cóż więcej?... Przecież ja temu nie jestem winien, że ci odesłała pierścionek...

czyn, ale zaraz po chwili Połaniecki pięknieje, lecz na krótko, bo oto przychodzi list od Waskowskiego i Połaniecki daje go do przeczytania Maryni. W liście tym Waskowski udziela zawcześnie rad Połanieckiemu jak ma wychowywać dzieci. Pokazanie takiego listu Maryni niekoniecznie było na miejscu, ale to nic jeszcze, to darować można. Wiemy, że Korzeniowski sam pisał listy tego rodzaju do swej narzeczonej. Ale Połaniecki mówi do Maryni: „Czy pani słyszała co podobnego? Jeszcze do ślubu daleko, a profesor już lamentuje nad naszemi dziećmi... — i pochyliwszy się tak, aby dojrzeć oczy Maryni, począł pytać: „a co pani mowi na ten list?“ A kiedy Marynia z oburzeniem mu odpowiada: „Pan nie powinieneś się zemną tak obchodzić“, Połaniecki naprzód się śmieje, a potem wpada w gniew, porywa za kapelusz i wychodzi. Tu nie ma dla niego uniewinnienia: jest, krótko mówiąc, wstrętnym, ordynarnym. Niedawno oburzał się na farbowanie policzków kobiecych, a teraz sam farbuje policzki własnej narzeczonej. Ale na szczęście on to sam czuje, powraca więc i przeprasza ze skruchą Marynię, pięknieje na nowo i utrzymuje się już na tej wysokości aż do chwili, gdy staje się panem i władzcą Maryni.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z za kulis literatury niemieckiej.

Rzemieślnicze traktowanie literatury nadobnej. — Dlaczego ta literatura w Niemczech upada? — Rola księgarza-wydawcy i jego wpływ ujemny. — Obojętność dziennikarstwa dla powieściopisarzy. — Dawniejsza decentralizacya życia literackiego. — Berlin-Mologh. — Stempel berliński na utworach teatralnych. — Klika krytyków berlińskich. — Paweł Lindau i jego handel odświeżaną starzyzną. — Szablon powieści „berlińskiej“.

Tło piśmiennictwa niemieckiego pozostaje w odwrotnym stosunku do potęgi zjednoczonego cesarstwa. Im państwo silniejsze — tem ożywcze prądy literackie słabsze; wyższość miecza nad pracą umysłową, przewaga młodego oficera nad sędziwym profesorem wszechnicy, wogóle wyciskają smutne piętno na ruchu piśmienniczym. Epoki takie, znane już w dziejach, podcinają skrzydła natchnieniu. Przygnębiająco również działają na literaturę chwalebne pod innym względem przymioty niemców: ich systematyczność, niechętnie szukająca dróg nowych, bo czerpiąca swe istnienie z niewolniczego naśladowania szablonu, ich miara we wszystkiem, lecz nie artystyczna, jeno wierząca w cyfry i linie geometryczne, ich umysł kupiecki, który usiłuje wszędzie i zawsze wyciągnąć zysk pieniężny, a twórczość poetycką wyraża miarą twórczości fabrycznej. Dzisiejsze piśmiennictwo tedy naszych najbliższych sąsiadów robi wrażenie olbrzymiego warsztatu, którego robotnicy codziennie dostarczają żądanej ilości towaru, rzemieśniczo, bo jednostajnie i niezbyt wybornie obrobionego.

Powyższe zapatrywania nie wypłynęły bynajmniej z plemiennej niechęci; są one wiernem odbiciem poglądów tych nielicznych niemców, którzy nie porwani ogólnym prądem, stoją na jeszcze wychylającej się z oceanu mierności wyżynie dawnej poezyi i dawnej nauki niemieckiej. Twarze ich blade, a czoła zasępione, bo czują, że ogół nie rozumie pieśni, śpiewanej na nutę podniosłą. Skarżą się oni, że wydawcy odtrącają każdy utwór, artystycznie obmyślany, a opierający się na głębszej, czy to społecznej, czy to psychologicznej tendencyi. Czytelnicy pożądają wrażeń, gorączkujących wyobraźnię, utwór może być i nieprawdopodobnym i licho napisanym, byleby tylko intryga podniecała ciekawość, a scena za sceną sprowadzała nowe niespodzianki bądź krwawe, bądź zmysłowe. „Wydawca dziennika — pisze B. v. Suttner w „Magazin für die Lit. des In- und Auslandes — w ten sposób rozumuje: Celem mego przedsiębiorstwa powinno być zjednanie jak największej liczby prenumeratorów; znaczna ilość tych ostatnich pożąda jedynie lekkiej rozrywki, ponieważ ich poziom umysłowy jest zazwyczaj niski. Muszę tedy towar mój, jeżeli chcę liczyć na dobry odbyt, w ten sposób przyrządzić, aby on i owemu pożądaniu i owemu poziomowi w zupełności odpowiadał. Pracownik, któremu poruczę to zadanie, jest obowiązany stosować się do owych warunków; ja zaś najlepiej zapłacę za rzecz, która przyniesie mi największy zysk.“ Jakże wobec takiego żądania zachowa się pisarz? „Poeta — pisze dalej B. v. Suttner — którego pracą pogardzono, właśnie z powodu jej wytworności, nie powinienby pod żadnym warunkiem zniżyć się do wymagań nierozwiniętego tłumu. Niestety przecież tylko nieliczna garść kochanków Muzy oddaje hołd owej wzniosłej zasadzie. Pierwszem bowiem marzeniem każdego piszącego jest być czytanym. Dla siebie nikt nie tworzy. Nadto trzeba pamiętać i o wynagrodzeniu, szczególe wcale nie podrzędnym, gdyż umożliwia on dalszą pracę ludziom, pozbawionym innych źródeł dochodu. A zresztą wysokość tego wynagrodzenia w oczach gawiedzi stanowi zarazem, niesłusznie wprawdzie, probierz talentu; kto więcej zarabia, ten podług niej musi być zdolniejszym“. Takie to względy skłaniają pisarzy do porzucenia wyższych szlaków i wykonywania żądań wydawcy.

Na końcu artykułu znachodzimy jeszcze jedno znamienne ubolewanie: „Dziennikarstwo nasze nie troszczy się o wydobywanie na wierzch imion, zasłużonych w piśmiennictwie nadobnem. Przeważnie bowiem milczy o ruchu twórczym, wbrew postępowaniu dzienników zagranicznych, które pojawienie się dobrego dzieła uważają za doniosłe zdarzenie, godne najobszerniejszego omówienia. Pomijając wreszcie gazety polityczne, musimy zaznaczyć, że nawet tygodniki, wyłącznie poświęcone powieści, nie otwierają swych łamów dla ocen literackich; co więcej, nie spotykamy ogłoszeń księgarskich, ponieważ nakładcy nie chcą płacić kilkunastu marek za anonse. Nieliczni tylko powieściopisarze zdobywają szerszy rozgłos.“

Widzimy, że dola literata niemieckiego nie jest godną zazdrości i nie odpowiada potędze oraz rozwojowi cywilizacyjnemu jego ojczyzny. O nadużyciach krytyki, zakażonej sprzedajnością, pomówimy innym razem. Dzisiaj wystarczy streścić powyższe fakta w twierdzeniu, że niezdrowe stosunki społeczne zrodziły przygnębiający byt dla literata, wskutek czego pojawiają się utwory bezkrwiste, okaleczałe i skazane na zagładę.

Do wzrostu piśmiennictwa oraz sztuki niemieckiej przyczynił się dawniejszemi laty podział władzy między kilkudziesięciu królów i książąt. Każdy dwór był zbiornikiem, zaopatrującym w świeżą, a ożywczą wodę spory szmat kraju. Zbiorniki owe działały miarowo i trwale; dzięki im poeci i myśliciele tworzyli swe dzieła, kwitnęły teatry, kierowane przez wzorowych intendentów, do których to i Goethe należał, malarze znajdowali pracę, a więc i możność wyrobienia się i chleba kawałek. Tymczasem dzisiaj część wody spływa do wielkiego zbiornika, zawsze zabagnionego, do stolicy zjednoczonego cesarstwa. Tam, gdzie panowało zadowolenie z samodzielności, dzisiaj rozpościerają się marzenia tylko o minionej sile; gdzie ochotnie rzucano dukatami na ołtarz Muz celem opromienienia rządów, obecnie z przerażeniem oddaje się ostatnie zapasy na wojsko Hohenzollerów. Smutny los zaiste przypadł w udziale niemieckim rodzinom panującym, które od 1866 roku poświęciły dużo miłości własnej i strumienie krwi swych poddanych w tym celu jedynie, aby na własnym karku w cztery lata później postawić stopę obcego dynasty.

Berlin zmienił się w olbrzymiego pająka, ktory zagarnął dla siebie władzę polityczną, a nadto żąda pierwszeństwa na każdem polu. Jego sieci ogarniają życie społeczne, naukowe, piśmiennicze, wreszcie teatralne. „Dramat musi otrzymać chrzest wodą, zaczerpniętą ze Szprewy — utyskuje wybitny krytyk, Rudolf Stegmann — jeżeli chce zdobyć powodzenie w Niemczech. Pomijając miejsce, gdzie się rozgrywa, nabiera

---

Bergström nic nie odpowiedział.

Po chwili zaczął znowu Pauli:

— Teraz dopiero zaczynam rozumieć: do dnia dzisiejszego byłem przekonany, że zupełnie świadomie zmierzałeś do zerwania — obecnie widzę, że było to wynikiem... niedołęstwa twego... a grałeś w nieszczęśliwe karty mój przyjacielu!... Pocóż naprzykład pisałeś pan ów list fatalny?...

— Jaki list?

— Dalibóg, że nie wiem, co zawierał! Lecz... w kilka dni po odwiedzinach Nörgaarda przysłał pan jej list jakiś, którego rezultatem było to, że natychmiast zerwać z panem postanowiła. Była tym razem tak łaskawą, że i mnie zawiadomiła o tem, co czynić zamierzała. Jakże mogłem przypuszczaś co innego jak to, że krok ten w najzupełniejszej jest zgodzie z pańskiem życzeniem, tem bardziej, że i pierścionek twój, w parę zaledwie godzin po odesłaniu pierścionka Engelki zwróconym jej został. A rozumie pan teraz, że wobec tego straciła ona wszelką odporność przeciwko czarującemu wpływowi Nörgaarda. W ten sposób sam popchnąłeś ją w ręce rywala swego... Zważ Pan, że wówczas, kiedy posyłała po Nörgaarda, chciała go zapewne tylko o przebaczenie prosić, nic więcej; nie przypuszczała nawet, że sprawa taki przybierze obrót... To pańskie wyłącznie dzieło... niema wątpliwości!...

Nastało dłuższe milczenie.

— Pan wydaje się być obrażonym? — rzekł znowu Pauli — sądzi pan może, że moim obowiązkiem było przeszkodzić zerwaniu? Czy takiem jest zdanie pańskie?

— Bynajmniej!

— No tak, widzi pan, zresztą nie wiele by to pomogło nawet... nie, mój przyjacielu, ta rzecz już na zawsze skończona, a szczerze mówiąc, nie masz powodu biadać!... Bądź człowiekiem rozsądnym, umieść ją między twojemi wspomnieniami młodości — i zachowaj „c o m m e u n b o u q u e t d e f l e u r s p a l e s“ jak powiada Musset.... Wspomnienia, które w młodości wywołują rzewny, tęskny nastrój, są w latach późniejszych źródłem przyjemności największych, gdyż długi czas są zadziwiająco świeże... a takie lekkie, delikatne jak nieuchwytna woń kwiatu... Tak, tak, uczyń jak ci radzę. A prawdę powiedziawszy, nie widzę powodu, dla którego my mielibyśmy się rozejść, — niejedną wszak przyjemną spędziliśmy chwilę; zapewniam pana, że mimo wielu niezbyt przyjemnych rzeczy, które mi dzisiaj powiedziałeś, nie czuję najmniejszego do ciebie żalu a sądzę, że i pan do mnie nie masz urazy. Dla czegoż więc nie mielibyśmy nawiązać na nowo dawnego przyjacielskiego stosunku?... Gdy zaś Engelke miłego swego wielbiciela poślubi i dom opuści, — wówczas...

Bergström zerwał się z krzesła. Szybko chodzić począł po pokoju, w którym teraz oprócz nich nikogo nie było. Coś go kłuło i niepokoiło... zmarszczki na czole uwydatniały wyraz cierpienia...

Pauli ścigał wzrokiem jego ruchy.

— Nie, dalibóg, to nie do pojęcia! — zawołał teraz Bergström.

— Co takiego?

— Wszystko; nie mogę nawet wyobrazić sobie związku między Engelką a tym człowiekiem — to niemożliwe... Już chociażby dla tego, że ona zna.. przecież jego życie dawniejsze!...

— Ona nie zna jego życia dawniejszego!

Bergström nagle przystanął.

— Co to znaczy — zapytał — nie zna? ależ ja sam jej o niem opowiadałem!

— Tak, ale cóż, kiedy ona temu nie wierzy?

— Nie wierzy....

— Nie. Gdyż on temu zaprzecza, rozumie się, a jemu wierzy...

— Ale pan, pan powinien...

— Cóż powinienem?

— Pan powinien jej wszystko wyjaśnić!

Pauli rozśmiał się.

Nie, tego dalibóg, nie uczynię pod żadnym warunkiem!...

Bergström spojrzał na mówiącego.

— To szkaradne! — zawołał oburzony — to niesprawiedliwość o pomstę krzycząca, grzech nie do przebaczenia, jaki pan względem niej popełniasz! Bezecne oszustwo!... Boże mój!

on znaczenia — opuszczam nieliczne wyjątki — w takim razie. jeżeli rozpoczyna wędrówkę po scenach prowincyonalnych z Berlina; dawniej ów przywilej służył Wiedniowi; dzisiaj znajduje uznanie dyrektorów to tylko, co berlińczyk obmyślił i napisał, berlińscy reżyserowie pchnęli na scenę, berlińscy agenci teatralni mają na sprzedaż, a zwłaszcza każdy utwór, obsypany pochwałami krytyki berlińskiej. Niemcy szukają swych dramatycznych mesyaszów na bruku stołecznym wbrew okolicznościom, że potężnie rozwinięte dziennikarstwo berlińskie utworzyło zwartą, a stronną klikę, oraz, że berlinczycy celują jedynie w farsie. To też w koszu nowości stołecznych, rozrywanych na wszystkie strony, leży sporo utworów lichych, zachwalonych przez klikę; dzielne pióra natomiast, pracujące w Stuttgardzie lub Wejmarze, Karlsruhe lub Mannheim, bądź to łamią się w walce z berlińskimi współzawodnikami, bądź zyskują rozgłos dopiero po długoletnich, a ciężkich wysiłkach."

To samo zjawisko można spostrzedz i w powieściopisarstwie.

Większą część utworów bellestrycznych, wydanych w ostatnim dziesięcioleciu, odmalowano na tle życia stolicy. Przyczyną tego wpływy rozliczne. I tak młode niemcy pod wodzą Bleibtreua idą śladem francuzów. „Dlaczego — woła ta garść, niewiadomo, czy więcej zdolna, czy bardziej zarozumiała — nie posiadamy „romansu berlińskiego", tak, jak jest „romans paryski", uprawiany z siłą oraz z wdziękiem przez Daudeta i rzeszę naśladowców mistrza? Max Kretzer był pono pierwszym z młodych, który świadomie hasło zamieniwszy w czyn, stworzył „Zmarnowanych", wielki obraz, pełen wad w układzie i charakterystyce postaci, lecz owe niedostatki okupujący namiętnem współczuciem dla startych na proch nie z winy własnej.

Od chwili pojawienia się „Zmarnowanych" minęło lat kilka; ilość powieści, czerpanych z życia stolicy, wzrosła niepomiernie; młodzi bowiem pojęli szybko, że właśnie ten rodzaj jest taranem, najbardziej podatnym do burzenia tamy, usypanej z wstecznych zachcianek rządu młodego cesarstwa. Pobudki wyłącznie artystyczne zmięszano więc z pragnieniami społecznemi, które dzisiaj są obce jeszcze dla ogółu czytelników: dla tego też wziętość nieprędko opromieni nazwiska nowatorów.

Istnieją atoli inni pisarze, którzy z wielkim hałasem puszczają w świat „powieści berlińskie", rzekomo realistyczne, rzekomo prawdziwe; w istocie zaś owe utwory — to mięszanina frazeologii, kilkunastu powierzchownych spostrzeżeń, kilkudziesięciu dobrych sytuacyi, skradzionych Zoli, kilkuset paradoksów, bądź to własnych, a więc lichych, bądź to olśniewających, a więc pożyczonych na wieczne nieoddanie u sąsiadów z nad Sekwany. Dzierżącym poczestne miejsce wśród tych aptekarzy, inaczej nazwać ich trudno, jest Paweł Lindau, krytyk, dramaturg, dziennikarz, powieściopisarz, a naprawdę świetny kupiec, handlujący odświeżaną starzyzną. Przebija się tutaj w Pawle Lindau rasa: jest on bowiem żydem i typem zarazem literata żydowskiego,

Autor powieści „Arme Mädchen" prędko znalazł naśladowców, którym ta nowość pozwalała nabyć po zniżonej cenie zaszczytny przydomek „eines modernen Dichters", nie zmuszając ich ani do naukowego zgłębienia społecznych zawiłości, ani do poważnego badania wielkomiejskiego bytu. Lekki chleb, jak wiadomo, kazi ułomną naturę ludzką. Jeden czarny charakter przebrany za bankiera lub barona, uprawiającego sport koński albo kobiecy; szlachetny hrabia i jeszcze czystsza jego córka; cnotliwy bohater, będący porucznikiem lub asesorem sądowym, w najgorszym razie technikiem, lub o hańbo, literatem; kilkunastu robotników z żonami i dziećmi — oto bohaterowie i chór; salon, ulica i tingel-tangel — oto scena; Numa idzie za Pompiliusza po licznych przeszkodach — oto druciany szkielet takiej powieści, odarty z waty opisów, romansowań, przysiąg, groźb i łez wyciśniętych smutkiem, bądź radością, wedle potrzeby.

To już nie literatura. nie artyzm, ale rzemiosło!

ORZEŁ.

(STARA BAJKA.)

Mężny władca górskich szczytów
Wielki orzeł jasnopióry
Wolny bujał u błękitów,
Wolny wzlatał pod lazury.
W gnieździe drobne miał orlęta
I orlicę białą, młodą —
Szczęścia złote zdobył pęta
Piersią wolną i swobodą.
Wolny, jasny w szczęścia zorzy
Z burz wichrami szedł w zawody —
Każda walka siłę mnoży,
Każde ciernie daje płody.
Lecz raz kiedyś strzały lotem
Zdobyczy goniąc dla rodziny,
Spadł na ziemi pierś z łoskotem
W Podhalańskich gór doliny.
Góral kulką strącił skrzydła,
Schwytał władcę górskich szczytów!
Znalazł orzeł klatki, sidła,
Miast przestworza i błękitów.
Wygojono skrzydła w klatce,
Za karm martwe mięso dano; —
Bezwładnego w nowej szatce
Orła ludziom pokazano.
Znojnych długich lat trzydzieści
Przeżył orzeł za kratami —
W niemej, srogiej swej boleści
Za swobodą płakał łzami.
Dziób mu zgiął się, — oślepł prawie,
Z ducha szczątki pozostały......
Przestał tęsknić już w niesławie
Skalny gazda posiwiały!
Gdy dozorca nieostrożny
Raz otworem drzwi zostawił, —
Zbudził duch się stary, możny —
Długo w klatce nie zabawił.
Odrętwiałe rozpiął loty,
Pomknął chyżo na przestworza —
Na słoneczny promień złoty,
Na niebieskiej dali morza!...
Leci — leci orzeł stary,
Czuciem pędzi w swe oddale,
Nad skaliste ciemne jary,
Ponad turnie, ponad hale.
Oto jego drogie skały,
Tam rodzinne gniazdo jego!...
Gdzieście dzieci się schowały?...
Powitajcie ojca swego!...
Nie ma gniazda... tylko szczątki,
Dzieci poszły w świat daleki!...
Puste, nieme skał zakątki
Pozostały dla kaleki.
Spuścił loty orzeł stary,
Pociemniało w bladych oczach —
Jęk przeleciał turnie, jary —
Zamilkł w sinych chmur roztoczach!
Stokroć gorsze niźli w klatce
Począł tutaj pędzić życie,
Na rodzinnej ziemi matce,
Tęskniąc nocą i o świcie.
Ród nim orli poniewierał,
Chłodem wicher ziębił ciało,
Groźny, częsty głód doskwierał,
Duszę życie złe szarpało.
Sam, samotny na przełęczy —
Silny, sławny ptak zamłodu
W purpurowej nieba tęczy
Stary orzeł skonał z głodu!

Probierczyk.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Projekt

założenia w Hamburgu stałej wystawy wzorów przemysłu i gospodarstwa polskiego*).

Na wywody szan. autora artykułu „Wywóz z Polski", zamieszczonego w numerze 1 „Przewodnika handlowo - geograficznego godzę się zasadniczo. Jeżeli jednak mimo to niektóre

*) Autor tego artykułu p. T. Filipowicz, kupiec w Hamburgu, członek polskiego Towarzystwa handlowo-

---

pomyśleć sobie, że ona na całe życie z tym szkaradnym urzędnikiem się wiąże!... ona tak delikatna... ohydne! jak pan może na to zezwolić!... to być nie powinno!

W największem rozdrażnieniu przebiegać począł pokój.

Czy nie widzi pan całej ohydy tego związku?!... — rzekł.

Pauli patrzał nań zdziwiony.

— Ależ zanadto się tem przejmujesz, mój drogi! dalibóg, blizki pan płaczu...

— Sam nie wiem już, co się ze mną dzieje; wiem tylko, że pan szkaradnie postąpiłeś! Pan chyba nie czujesz, że zbrodnię popełniasz? wszelkich uczuć jesteś pozbawionym!

Pauli spokojnie patrzał na mówiącego.

— Wystarczyłoby przynajmniej do dziesięciu procesów o obrazę honoru to, co przed chwilą powiedziałeś — odparł ze zwykłym uśmiechem — jeszcze bardzo jesteś młody, a przytem nie zna pan zupełnie kobiet, mimo wszystkich swoich doświadczeń. Powiada pan, że grzechem jest ukrywać przed Engelką przeszłość Nörgaarda, a ja panu powiadam, że grzechem byłoby postąpić inaczej; a po mojej stronie jest słuszność!

— Nie mów pan, proszę, o grzechu względem niej! — zawołał Bergström — czy nie czuje pan, jak to dziwnie brzmi, gdy o tem mówisz?... Nie, mój Panie, znam pana na wylot i widzę doskonale, że nikt inny, tylko pan sprawą tak pokierowałeś z obawy przed mściwą ręką Nörgaarda... Z tchórzostwa to zrobiłeś! Nörgaard ma teraz broń przeciwko panu, boisz się jego zemsty brutalnej! to wszystko!... i dla tego poświęca pan dla swego spokoju córkę... Ale, być może, że jeszcze nie wszystko w sprawie tej skończone — dodał groźnie.

Pauli zmęczonym wzrokiem nań spojrzał.

— Drogi Bergström — rzekł — niemożebnem jest mówić z panem o najprostszych rzeczach, bo zaraz w gniew wpadasz, a w takim razie nigdy się nie zrozumiemy. Nawet mnie to dziwi — przyznam się — miałem pana zawsze za człowieka o dość spokojnym temperamencie... Ale, o czem to mówiliśmy... a tak, przyznałem się panu, że Nörgaard jako przyjaciel, niezbyt mi jest sympatycznym, tem mniej więc, jako nieprzyjaciel; a nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałbym Nörgaarda koniecznie wrogo względem siebie usposobić... nie przerywaj mi pan! Jak już powiedziałem przedtem, pan stanowczo nie zna Engelki; ja zaś, przebywając tyle lat z nią razem, a nie będąc w niej — jak panu wiadomo — bynajmniej zakochanym, mogłem o wiele lepiej ją poznać, niż pan... Mogę też pana zapewnić, nie uwierzysz mi zresztą, że ona przywiązaną jest do Nörgaarda. Nie zapominaj pan, że zna go od dzieciństwa, że może go kochała nawet, zanim pana poznała — świadomość zaś, że teraz, mimo wyrządzonej mu krzywdy znowu do niej powraca, także swój wpływ na nią wyrzeć musi. Ona taka sentymentalna! Dodaj pan do tego jeszcze i tę okoliczność, że on się stara jej przypodobać, wprawdzie na swój sposób, ale zawsze widać, że dba o jej względy, to też nie jest bez znaczenia. A pominąwszy już to wszystko, otacza ona postać jego aureolą męczeństwa, co w oczach jej jest najważniejszem! Sam opowiadałeś mi pan, jaką jest pod tym względem Engelke; uważa się ona za kapłankę świętej sprawiedliwości, Nörgaard zaś jest owym prześladowanym, niesłusznie cierpiącym, spotwarzonym, a do tego z jej powodu, chociaż mimo jej woli! A czy pan zna kobiety? muszą one bałwochwalczo ubóstwiać, korzyć się w prochu, inaczej nie są szczęśliwe! Dopóki nie znajdą, lub dopóki nie sądzą, że znalazły człowieka, który dla nich jest bogiem, tak długo nie czują się szczęśliwemi. Właściwą siłą kobiety, jak powiada Goncourt, jest nadmiar we wszystkiem, to szczera prawda: Tak więc mają się rzeczy, mój panie, a kto wie, czy obecna, pełna czci obawa Engelki nie zamieni się czasem w silne uczucie. Znając ją, można nawet przypuszczać, że doskonale się uzupełniać będą, w każdym razie lepiej niż z panem.... A więc, czegóż chcesz więcej? Czy teraz z całą stanowczością utrzymujesz, że należałoby zburzyć tę, ewentualnie szczęśliwą przyszłość Engelki, ku której zmierza? Zbu-

ustępy artykułu omówię, to uwagi moje niech posłużą jako dopełnienie. I ja uznaję wspólnie z autorem wielką doniosłość polskich wystaw nieustannych i dopełniających wciąż naksztalt tutejszych mnogich „Exportmusterlager“ jakich urządzenie autor proponuje w Hamburgu i Bremenie. Natomiast uważałbym za ujemne urządzenie stałej wystawy wzorów polskich w gmachu giełdowym tutejszym a to z następującego powodu. Hamburgska wystawa wzorów, utrzymywana stale w hali giełdy tutejszej ma bezwarunkowo doniosłe znaczenie, ale dla tych tylko firm eksportujących, których fabrykaty i imię nietylko tutaj, ale na wielu rynkach zbytu oddawna zażywają wziętości i są renomowane, a które nadto mają tutaj swych agentów, którzy w razie potrzeby w celach reklamy i sprzedaży oprowadzają swą zamorską klientelę po hali giełdowej. Tymczasem firmy i fabrykaty nieznane, chociażby w hali giełdowej najokazalej się przedstawiały, nie zyszczą realnie na tej wystawie nic, lub względnie mało. Przypuszczam, że Polacy zechcieliby wystawiać tam swe wzory, to nietylko, że mało kto się o nie będzie pytał, ale domy eksportowe a specyalnie reprezentanci czyli agenci firm eksportowych niemieckich oraz obcokrajowych widząc w wytworach polskich nowego konkurenta, odrazu jeżeli nie będą ignorować wystawy polskiej, z całym impetem rozpoczną walkę i odrazu bądź ustnie, bądź piśmiennie udaremnią zabiegi nowicyuszów i odejmą im wszelką chęć wystawiania nadal wzorów swych a nadto sparaliżują w ogóle wszelkie zamiary wywozu.

Wiadomo, że świat handlowy bez reklamy żyć nie może. Jeżeli więc kraje polskie chcą eksportować, nieodzowną będzie potrzebą reklama a w takim razie inną proponuję drogę jako najpraktyczniejszą a najdogodniejszą zarazem. Otóż 50 fabrykantów czyli przemysłowców zobowiązuje się utrzymywać w Hamburgu stałą a dopełnianą bezustannie wystawę wzorów pod dozorem reprezentanta Polaka, fachowego kupca wtajemniczonego w wszelkie tajniki eksportu. Celem utrzymania tejże wystawy zobowiązują się owi przemysłowcy polscy każdy po 200 do 300 reńskich płacić rocznie (w latach późniejszych opłata będzie naturalnie o wiele niższa).

Na utrzymanie wystawy wzorów potrzeba z początku znaczniejszego nakładu. Musi ona bowiem być umieszczoną w środnicy miasta, w centrum ruchu handlowego, blizko giełdy, w odpowiednim gmachu, być dobrze oświetloną i wzorowo i z pewną elegancyą urządzoną, w ogóle być czemś, co wpada w oczy i co się podoba. Wystawa w skromnym lokalu i skromnie urządzona ulegałaby najzupełniej konkurencyi tutejszych z komfortem i bogato urządzonych mnogich „Exportmusterläger.“ Nadto drukowana reklama pochłania nie małe sumy. Ale główną podstawą wszystkiego jest doskonały reprezentant. Ten bowiem świadomy celu, obeznany z światem handlowym, dzielny jako kupiec-agent, jest dla przemysłowców wystawców osią ich powodzenia. Bez reprezentanta doskonałego wystawa polska byłaby martwą i bez zysku, dopiero on zdolen nadać sprawie kierunek właściwy, a jeżeli fabrykat polski jest dobry i konkurencyjny, to z czasem zrobi sobie tutaj uznanie, imię i wielką a dobrą klientelę.

Znając stosunki ruchu eksportowego w Hamburgu gorąco zalecam nietylko wystawę wzorów polskich w Hamburgu, jako konieczność, nie w hali giełdowej, lecz osobno, utrzymywaną przez właściwego reprezentanta, jednostkę lub firmę polską, dającą gwarancyę i kwalifikującą się na takie stanowisko ważne. Sumiennie zaś zaręczyć mogę, że kapitał wyłożony na wystawę polską (300 guldenów nie może się wydawać wygórowane) nie jest stracony, ale jest jedną z podstaw powodzenia eksportu polskiego. Agent jako reprezentant nie pobiera nic, jak tylko pewien procent od towarów przezeń zamawianych w kraju u Polaków.

Dotykam teraz kwestyi ważnej. Szanowny autor dochodzi do wniosku logicznego, ale jak się zdaje, mało praktycznego, jakoby ze względu na lepszy zysk zalecało się eksportować wprost za morze za pośrednictwem spedytora, a z wykluczeniem domów eksportowych. Za zdaniem autora przemawiają dwa czynniki, oto najprzód, że ekspedytor polski nie potrzebuje opłacać kosztów i tracić pewną część zysku na ręce tutejszych lub innych domów eksportowych a potem, że się zapoznaje wprost z zamorskim kupcem-nabywcą. Przytaczam teraz ujemne strony tej zasady. Przemysłowiec polski zbywając towary przez reprezentanta-agenta na ręce domu eksportowego najprzód towar sprzedaje wcześniej, niż za morzem mimo depesz (w rzadkich razach i dopiero przy trwałych stosunkach depesze mogą się zalecać). Nadto w portowych miastach Europy, a zwłaszcza w Hamburgu łatwo się dowiedzieć o dobroci firmy eksportowej odnośnego portu, bądź przez reprezentanta, który tylko solwentnym, to jest w płaceniu pewnym firmom towar sprzedawać będzie, bądź wprost przez odnośne biura informacyjne itd., o ile zaś można z firmami zamorskimi wejść w układy, ile im zaufać, jak wysokiego kredytu udzielić, są to wszystko pytania na razie dla eksportera nowicyusza za dalekie. Tu płacą gotówką, bądź zaraz, bądź w przeciągu miesiąca, tam, za morzem, regulują się faktury za pomocą trat i akceptów a udziela się ich na cztery miesiące, jeżeli nie wymagają kupcy-nabywcy zamorscy kredytu otwartego na 6, 8, 12 miesięcy. Tu stosunki więcej normalne, mniej krachów, tam niejasne, niepewne, nieświadomego fabrykanta europejskiego narażają nieraz na ogromne niebezpieczeństwo i straty. Od akceptu do otrzymania zań gotówki daleko. Z tem wszystkiem później i tego rodzaju interes ma swoją racyę bytu. Gdyby wywóz wprost przedstawiał się w rzeczywistości tak łatwo i tak korzystnie, załatwiałyby firmy niemieckie od dawna wprost zamorski handel, ale fakt, że domy eksportowe miast portowych Hamburga i Bremy od dawna cieszą się wziętością, powodzeniem i rozrastają się coraz więcej powagą i liczbą powinien nas przekonać, że jedynie racyonalnem jest używanie pośrednictwa tychże domów. Setki Niemców, eksportujących wprost, dopiero po wynikłych ztąd wielkich stratach pieniężnych zaprzestali tego rodzaju zbywania produkcyi, aby z zaufaniem i z pożytkiem korzystać z wielkich udogodnień, które przedstawiają domy eksportowe. Dalej reprezentant wyrobić może przemysłowcom właśnie przez owe domy eksportowe najrozmaitsze udogodnienia, bądź tańsze frachty, bądź najniższe premie asekuracyjne itd. zapewniając czego ani spedytor, ani sam fabrykant w takiej mierze nie mogą uskutecznić.

Jak później będzie, gdy eksport polski wyjdzie już z zawijaków, gdy spotężnieje, i już z zupełnie innemi czynnikami się liczyć może, o tem dziś nie warto mówić. Dziś o to nam starać się trzeba przedewszystkiem, aby nietylko wiedzieć, jakie są zapotrzebowania zamorskie, w szczególności rodaków w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, w Brazylii w stanie Parana, ale poczuwać się przedewszystkiem do obowiązku społeczno-narodowego i szukać wszelkich dróg możliwych do eksportu a w nich wszelkich możliwych korzyści i udogodnień celem podniesienia przemysłu krajowego. Dziś nam Ameryka jeszcze zbyt obca, więc poznać ją bliżej musimy, i zbadać dokładnie, a co główna, wzbudzić u tamtejszych rodaków, którzy

geograficznego, zamierza w jesieni przybyć do Lwowa, aby osobiście kwestyę tę omówić. Sprawą założenia stałej wystawy w Hamburgu zajmuje się Towarzystwo handlowo-geograficzne. Zapowiedziany jest udział pewnej liczby przemysłowców z Królestwa polskiego. Nie wątpimy, iż kupcy i przemysłowcy galicyjscy i poznańscy przyłączą się do wspólnych usiłowań. Sprawa jest na czasie i aktualną. Jak donosi „Nowoje Wremia“ rząd rosyjski zamierza dać inicyatywę do założenia w Hamburgu podobnej wystawy wzorów przemysłu rosyjskiego. Byłoby pożądane, aby przemysł polski Królestwa był odrębnie reprezentowany, gdyż w ten sposób umożebnionyby został udział przemysłowców galicyjskich i poznańskich, którzy na razie sami własnym kosztem nie mogliby utrzymać tej wystawy. Należy więc w sprawie tej pospiesznie działać. (P. R.)

---

rzyć wyjaśnieniami, któreby zapewnie o nowy ją przyprawiły niepokój i zwątpienie, — teraz, kiedy nareszcie odzyskała równowagę? Mówisz, że ją kochasz. W takim razie nie zechcesz, ażeby tak głupio z nią postąpiono.

— A jednak tego, a nie innego jestem zdania! — rzekł Bergström — wszak to kłamstwo., rozważ pan, że wszystko to na kłamstwie spoczywa!...

Pauli brwi ściągnął gniewnie.

— Kłamstwo, powiada pan! nie jest to więcej kłamstwem od wielu innych rzeczy w małżeństwie, o których nikomu nie przyjdzie na myśl wspominać! Cóż to ma znaczyć, mój panie, że uzbroiłeś się dzisiaj w naiwność udaną? – wobec tego wyglądam jak uosobienie egoizmu, co w każdym razie nie jest prawdą. Zazwyczaj pan obejmowałeś moją rolę, gdy gawędziliśmy z sobą. Co znaczą dzisiaj te głupstwa?... Rzecz ta nieodwołalnie skończona, a przyjm pan jedną dobrą radę przyjacielską: nie udawaj się pan do niej po wyjaśnienia, nie bierz na siebie roli opiekuńczego anioła, gdyż szczerze mówiąc, nic tem nie osiągniesz. Ona spali listy twoje, a gdy je przeczyta, wierzyć im nie będzie, gdy zaś odwiedzić ją zechcesz, drzwi przed tobą zamknie... Rozumie pan chyba, że mówię to dla przestrogi... Zostaw pan zatem Engelkę jej własnemu losowi, a szlachetność twoja niech szuka zadośćuczynienia w pewności, że Engelke zupełnie nie czuje się nieszczęśliwą i na los swój nie narzeka — przeciwnie...

— Zawsze jednak pozostanie Nörgaard owem szkaradnem indywiduum! — rzekł Bergström, chodząc po pokoju. Drwiące spojrzenie doktora ścigało go bezustannie. — To okropne! okropne! — powtarzał Bergström nieprzytomnie prawie.

— Nie wiem! — rzekł Pauli, wzruszając ramionami.

Bergström zwolna opuścił się na krzesło i z głową w tył odrzuconą, z rękoma nad nią splecionemi, długo tak pozostał.

Poczem znowu odezwał się doktor:

Wie pan, czemu najwięcej dziwiłem się w ciągu naszej rozmowy? Oto zauważyłem w panu, jakby chęć szukania sprawiedliwości wobec tej wyrządzonej panu krzywdy; każdemu słowu twemu towarzyszyło pewne, ledwo dające się odczuć przeświadczenie o zupełnej niewinności swojej, pewne patetyczne uderzanie się w piersi przy każdym wyrazie! Oto wizerunek twój moralny, który piętno swe nadał całej rozmowie ze mną. A to mnie dziwi. Chciał pan, zdaje się grać rolę męczennika sprawy, a rola ta bynajmniej dla pana się nie nadaje. Stanowczo nie jesteś męczennikiem, mój drogi, w każdym razie nim nie jesteś! Nörgaardowi los łaskawy pozwolił znaleść kogoś, kto w męczeństwo jego wierzy. W pańskie, zaprawdę, nikt nie uwierzy, a nawet pan sam nie wierzysz, jeśli trzeźwo tę rzecz rozpatrywać zechcesz...

— Co to ma znaczyć? — spytał Bergström.

Pauli uśmiechnął się drwiąco.

— Mój panie! gdzież podział się dzisiaj zwykły pański rozum, zapewniam pana, że go nie widzę; sądziłem, że wystarczy uwaga ogólna, bliższe wyjaśnienie zbyt byłoby banalnem.... Zresztą jeśli koniecznie tego sobie życzysz... A więc rozważ pan dokładnie, z czego się wyłonił cały obecny stan tej sprawy lub jej tragiczny charakter, jak pan się wyraża? na jakiej powstał podstawie? jaka jego geneza?... Zdaniem mojem zrodziła go chwila, w której Nörgaarda przed Engelką niesłusznie oskarżyłeś. H i n c i l l a e l a c r i m a e! ztąd wszystkie łzy pochodzą zarówno twoje jak i Engelki... Jeśli może pan rzecz tę wyjaśnić inaczej, chętnie słucham!

— Wszak to było prawdą, co jej wówczas powiedziałem! — zawołał Bergström.

(Dokończenie nastąpi).

chcą pozostać prawymi synami matki ojczyzny i chcą razem pracować z starym krajem, aby siebie i jego dźwignąć, aby ekonomicznie się podnieść, chęć do wspólnej akcyi i do pomocy bądź radą, bądź czynem. Dziś winien przemysł polski utworzyć na razie wystawę polską w Hamburgu, jako centrum akcyi eksportowej, a tam ująwszy kierownictwo doskonale w bardzo krótkim czasie posuwać się będzie mógł coraz dalej i dalej, stamtąd — bez frazesu — iskry do kraju pójdą podniecające nietylko przemysłowców do coraz większej pracy, ale rozniecające nowe siedliska ruchu przemysłowego i handlowego, pobudzające do objęcia nowych, nieznanych jeszcze w kraju gałęzi przemysłu, poprowadzi jednem słowem jak śmiały a wytrawny wódz do boju całą rzeszę ubogich Polaków do dobrobytu. Z wzrastającym dobrobytem ekonomicznym wzrośnie i powaga narodu i szacunek dlań. Nad ubogim Polakiem znęca się świat, z Polakiem otoczonym dobrobytem a przezeń i z nim oświatą, dorównywującym innym narodom, będzie się liczył każdy, choćiażby wróg.

Podaję jeszcze jeden przykład. Otóż istnieje tu firma agenturowa, która jako reprezentantka 100 przemysłowców i kupców, krajowych niemieckich i zagranicznych, stałą utrzymuje wystawę wzorów i z wielkiem powodzeniem pracuje dla tych przemysłowców i kupców. Taką samą firmę wraz z wystawą powinni Polacy urządzić.

Zanim to się stanie, byłoby bardzo na czasie, gdyby zaraz jeden lub dwu wybitnych ekonomistów zwiedziło Amerykę a w drodze do niej Hamburg i Bremę w tym samym specyalnym celu, aby w Ameryce północnej i południowej nawiązać stosunki handlowe mianowicie w Nowym Jorku oraz w miastach jak Chicago na północy. Szczególnie ważnem zaś powinno na przyszłość niedaleką być zbadanie Stanu Parana w Brazylii. W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej bowiem, bądźto wskutek wysokiej kultury, bądź wskutek nadzwyczajnej konkurencyi całego świata handlowego, bądź też wskutek ogromnych ceł ochronnych, konkurencya nasza będzie zawsze tylko słaba i wybicie się w jakiejbądź gałęzi przemysłu nader utrudnione, a często niemożliwe, gdy tymczasem w Stanie Parana sytuacya nam się przedstawia pod wielu względami nad wyraz przychylnie a grunt dla pracy ekonomicznej tak podatny, jaki może nigdy nam się nie nadarzy. W Stanie Parana bez wątpienia jest wielka przyszłość dla Polaków a na ten punkt ekonomiści nasi zwracają baczne oko od niedawna i słusznie. Tam Polacy skupieni, właściciele roli, na najlepszej drodze wybicia się ekonomicznie; środki komunikacyjne, dziś lubo niedostateczne, z każdym rokiem stają się dogodniejszymi, a z wzrostem ludności i eksportu wkrótce mogą się stać dobrymi. Stan Parana być nam powinien tem, czem Sycylia była dla Rzymian: śpichlerzem, Szwajcaryą polsko-amerykańską, pod względem ekonomicznym. *T. Filipowicz.*

SYLWETKI SZLĄSKIE.

I.

Bronisław Koraszewski.

Kilka tygodni temu, gdy bracia Galicyanie opuszczali mury grodu naszego, — gdy pozostawaliśmy jeszcze pod świeżem wrażeniem tak miłych sercom naszym odwiedzin, — jedno nazwisko było na ustach wszystkich: Bojko! Bo też postać tego chłopa-obywatela tak silnie zarysowała się na tle tej uczty braterskiej, tak imponowała swą nawskroś oryginalną indywidualnością, swą głęboką wiarą w świętość przekonań swoich, że stała jeszcze żywo przed oczami naszemi, gdy już kordon graniczny dawno zamknął się za gośćmi naszymi.

Dziś Poznań z takiem samem, jeźli nie z większem zajęciem mówi o innym gościu, o tym, który sprowadził do nas po długiej, bolesnej rozłące braci zapomnianych, o B r o n i s ł a w i e K o r a s z e w s k i m. Występował on wobec nas jak ów przewodnik na puszczy, który z narażeniem życia własnego zbłąkanych i już za straconych uważanych braci odszukał i napowrót żywych i zdrowych w objęcia nasze sprowadził. Radość, jaką w takich razach odczuwa człowiek na widok odzyskanych, — zamienia się w wdzięczność, w uwielbienie dla tego, który ich ocalił. Z takiemi też uczuciami spoglądaliśmy na tego skromnego pioniera naszego, i w lot pozyskał on sobie serca nasze.

Bronisław Koraszewski, to młody jeszcze pracownik na niwie pracy publicznej, a jednak już położył około przyszłości naszej niespożyte zasługi. Szlachcic z urodzenia, stał się apostołem chłopów. Dwie zwłaszcza cechy wybitne charakteru jego usposabiają go doskonale do tego tak trudnego a ciernistego zawodu: głęboka miłość ludu i wytrwałość niezłomna. Kocha on lud nietylko platonicznie, nietylko w myśl zasad demokratycznych, które wyznaje, ale praktycznie w całem tego słowa znaczeniu; żyje on nietylko dla ludu, ale i z ludem, bierze żywy udział w codziennych jego troskach i cierpieniach, jest mu przyjacielem, doradzcą, co więcej bratem prawdziwym, nie zapominając przy tem i o tem, że na stanowisku, jakie zajmuje, równocześnie powinien być jego przewodnikiem i nauczycielem. Życie jego, jak życie każdego prawdziwego i szczerego trybuna ludowego, szło i idzie ciernistą drogą, ale z drugiej znów strony nie poskąpiło mu i bujnych owoców, które każą mu zapomnieć o cierniach i głogach.

Wielce charakterystycznem dla osoby i działalności Koraszewskiego było zdanie, jakie do jednego z wybitniejszych mężów górnoszląskich wypowiedział czasu swego pewien radzca rejencyjny z Opola. Pan ten, także szlachcic urodzony, dbały wielce o godne reprezentowanie uprzywilejowanego pochodzenia, zapytany przez owego męża, co też sądzi o przywódzcy ruchu polskiego w Opolu, skrzywił się niesmacznie i z pewnem lekceważeniem odpowiedział: „E h ! D e r v e r k e h r t n u r m i t B a u e r n, g e h t a u f B a u e r n h o c h z e i t e n, h ä l t d o r t R e d e n, u n d s i n g t m i t d e n B a u e r n !“ Biedny pan radzca nie przypuszczał widocznie, jak pochlebne świadectwo wystawił przez to „szlachcicowi-demokracie“! A pan radzca powiedział prawdę. Bronisław Koraszewski jest nietylko redaktorem pisma ludowego, nietylko piórem walczy o prawa ludowe i broni dobra jego, ale działa więcej jeszcze żywem słowem i osobistym przykładem. Właśnie osobiste jego stosunki z ludem, jego bezpośrednie stykanie się z tymi, którym przewodzi, czynią pracę jego tak wydajną i najpomyślniejszemi rezultatami wieńczą wszelkie jego zabiegi.

Przybył on na Szląsk, jeśli się nie mylimy, w roku 1888, jako młody człowiek, pełen ochoty do pracy, zapału i wiary, i już po krótkim tamże pobycie założył z kilku obywatelami Polakami ze stanu średniego w Królewskiej Hucie pismo ludowe: „Głos ludu górnoszląskiego“. Pismo to, jakkolwiek doskonale redagowane, z braku funduszów u nakładców i dla tego, że założono je tuż pod bokiem starego i bardzo rozszerzonego w tych stronach „Katolika“, nie istniało atoli długo, a do upadku jego przyczynił się głównie proces prasowy, jaki wytoczono redaktorowi za zbyt śmiałe skrytykowanie jednego z nowszych, a dla ludu niekorzystnych praw niemieckich. Pismo upadło a redaktor przecierpiał dwa tygodnie w więzieniu. Potem pracował przez czas pewien w red. „Katolika“ w Bytomiu. Na tem stanowisku założył on wraz z redaktorem Napieralskim, — było to po strejku r. 1889, — Związek wzajemnej pomocy robotników górnoszląskich, który dziś liczy już tysiące członków i rozwijając się pomyślnie, stanowi punkt oparcia w walce polskiego ludu roboczego z kapitałem niemieckim. Ale i tam nie przebywał długo. Opatrzność do innego, ważniejszego powołała go zadania. Opolskie, okolica najrdzenniej polska z całego Górnego Szląska, nie posiadała jeszcze wówczas ani polskiego pisma, ani żadnego innego ogniska, około którego skupićby się mogły żywioły narodowe. Coraz też częściej odzywały się ztamtąd głosy walczącego o mowę swą i narodowość ludu o przewodnika. Koraszewski usłuchał wezwania tego i w październiku r. 1890 założył tamże „Gazetę Opolską“. Z tą chwilą nowe życie zakwitło w tym prastarym grodzie polskim. Niebawem za staraniem redaktora powstało „Towarzystwo polsko-katolickie“, które liczy dziś do czterystu członków, urządza odczyty, teatra amatorskie, pogadanki i zabawy i łączy w sobie wszystkie inteligentniejsze żywioły z miasta i okolicy. Oprócz tego założył Koraszewski w latach następnych może z dziesięć innych towarzystw ludowych w powiecie w dalszych nawet okolicach, a wszystkie opierają się głównie na jego pracy i jego poświęceniu. W niedzielę prawie nigdy nie można go zastać w domu, bo zwykle przebywa na zebraniach. Najświetniejszym czynem jego jest przeprowadzenie wyboru posła p. majora Szmuli. Gdy szląskie arystokratyczne stronnictwo centrum, nie mogąc darować p. majorowi Szmuli, że tak energicznie w sejmie i poza sejmem przemawiał za historycznemi i językowemi prawami ludu polskiego na Szląsku, że zdemaskował hipokryzyę niektórych wybitnych działaczy centrowych, gdy za te „winy“ obaliło centrum kandydaturę p. Szmuli w Bytomskim okręgu, i gdy zdawało się już, że lud górnoszląski straci tego najdzielniejszego z wszystkich parlamentarnych obrońców swoich, dzielni Opolanie pod wodzą Koraszewskiego ofiarowali mu mandat w okręgu wyborczym opolskim. I pan major przeciwko woli większości księży i całej zniemczonej inteligencyi wyszedł zwycięzko z urny wyborczej, wprawdzie tylko kilku głosami większości, lecz gdy wskutek różnych manewrów przeciwników wybór jego unieważniono, — wybrał go lud opolski po raz drugi i to taką większością, że już przeciwnikom jego odeszła wszelka ochota do założenia protestu.

Poraz to pierwszy mieliśmy teraz sposobność przyjrzeć się bliżej ludowi górnoszląskiemu. Imponował on nam swą śmiałością, swobodą, otwartością swą i wysokim stopniem oświaty. Przekonaliśmy się też dowodnie, że twierdzenie nieprzyjaciół naszych, jakoby lud ten nie czuł się polskim, jest kłamstwem i oszczerstwem. W sercach jego takie samo gorące żyje przywiązanie do macierzy polskiej, do mowy i obyczajów ojców naszych, — jak w sercu każdego Krakowianina lub Wielkopolanina. Nie ma więc między nami żadnej różnicy, — prócz tej chyba, że lud szląski dłuższy niż my przebył czyściec cierpień narodowych. Ale też z czyśćca tego wyszedł on zdrowszym na ciele i duszy, wyszedł silniejszym i wyniósł z niego większą odporność przeciwko grożącej mu nawale.

Że tak się stało, w tem niemała zasługa Koraszewskiego. On to przy pomocy takich mężów z ludu, jak Baron, Kirszner, Liguda przy pomocy kilku zacnych kapłanów, którzy mają odwagę płynąć przeciwko prądowi germanizacyjnemu, popieranemu nawet przez władzę duchowną, podniósł lud opolski, lud szląski do takiego poziomu dojrzałości politycznej i moralnej, że lud ten śmiało już każdej burzy spojrzeć może w oczy, bez troski o przyszłość. Jemu też w pierwszej linii zawdzięczamy, żeśmy się poznali na nowo, żeśmy na nowo zawiązali z bracią górnoszląską węzeł miłości. Bądź co bądź, odwiedziny Górnoszlązaków w Poznaniu były wypadkiem historycznej doniosłości. Zbliżyły one do siebie znów braci jednego narodu, których rozdzielały wieki całe walk braterskich i niepamięci. Oby połączenie to wydało trwałe owoce, abyśmy w przyszłości ramię przy ramieniu bronić mogli zagrożonego a wspólnego żnicza narodowego.

Cześć ci, zacny pionierze miłości bratniej na kresach górnoszląskich! Niech praca twoja zawsze tak błogie wydaje owoce, jak wydawała dotychczas, pracuj dalej z równą zawsze wytrwałością, a w pracy tej i w walce niech cię krzepi zawsze ta myśl, że Wielkopolska cała spogląda z dumą i wdzięcznością na syna swego, który na pustyni zapomnienia i niedoli zdołał odszukać ginących już braci, i znów ich przywieść w objęcia macierzy. Cześć ci i chwała!!

. . . ki.

Z tygodnia.

Po ciosach bolesnych, jakiemi były dla społeczeństwa naszego konieczność wydzierżawienia hotelu „Wiktoryi“, — tej podstawy bytu materyalnego sceny naszej, obywatelowi mojżeszowego wyznania, — a dalej sprzedaż Milesew i niedostatecznie jeszcze napiętnowana sprzedaż Bielaw przez braci Szymańskich na kolonizacyą niemiecką, — odwiedziny braci górnoszląskiej stały się dla nas rosą ożywczą. Lud to polski, pochodzeniem, krwią i uczuciami, a jednak jakże odmienny od naszego! Prawdziwi między nami przyjaciele ludu znaleźli w gościach górnoszląskich uosobienie ideałów swoich, znaleźli chłopów, jakich mieć ich pragną, nie owych zafukanych, na widok surdutowca, pana, do kolan kłaniających się paryasów, ale prawdziwych obywateli, którzy czują się równouprawnionymi członkami społeczeństwa, obywatelami, którzy znając swą godność człowieczą, poszanowania tej godności od innych się domagają. Trzeba było słyszeć ich mówiących, rozprawiających; — z każdego zdania przebijała się rzadka u chłopów naszych dojrzałość, a wielu z nich odznaczało się wysokim stopniem oświaty, oświaty, nie wpojonej w szkole, lecz nabytej z własnego popędu, przez czytanie gazet i książek. I byli to niby apostołowie lepszej, szczęśliwszej przyszłości. Przekonali nas oni, jaką siłę potężną, niespożytą mamy w ludzie naszym, z ich twarzy, z ich ust; z ich zapatrywań i poglądów — przemawiała do nas Polska przyszłości.

Przyjęcie ich było serdeczne. Drugi zwłaszcza dzień zbratał nas z nimi, a zbratał pewnie na wieki...

Ale niestety te odwiedziny braci przez tyle wieków zapomnianej nie odbyły się i bez przykrego dysonansu, a dysonansem tym była w tej uczcie bratniej zupełna nieobecność przedstawicieli duchowieństwa, szlachty i tak zwanej wyższej inteligencyi naszej. Duchowieństwo trzymało się zdala od gości, unikało ich jak najstaranniej jakby koniecznie chodziło mu o to, aby ci bracia nasi, którzy i tak już cierpią niemało wskutek wrogiego zachowania się względem ich ideałów narodowych większej części własnego duchowieństwa, i z Poznania bolesne wywieźli wrażenie. Nawet w kościele św. Marcina, którego proboszcz, jak nam zapewniano, dość wcześnie był zawiadomiony o przybyciu gości i proszony tylko o odmówienie z nimi krótkiej wspólnej modlitwy, nie pojawił się wcale...

Brak inteligencyi również przykre wzbudzał uczucia. Przekonaliśmy się i tym razem dowodnie, że hasła demokratyczne i owe szumne frazesy o miłości ludu, jakiemi sypie jak z rękawa inteligencya nasza, są rzeczywiście tylko czczemi frazesami bez najmniejszego znaczenia. Gdy chodziło o zamanifestowanie tej miłości dla ludu, o podanie dłoni braciom z ludu, o zawiązanie węzłów jaknajserdeczniejszych, — inteligencya nasza świeciła nieobecnością.

Jakże tu nie pisać satyry!

Przykre to, ale dzięki Bogu nie zanadto szkodliwe. Życie nasze narodowe potoczy się nową koleją, skoro nasz lud dojdzie do tej samej dojrzałości, na jakiej dziś już znajduje się lud górnoszląski. Procesu przeistoczenia się społeczeństwa naszego żadna reakcya powstrzymać nie zdoła. Ci zaś, którzy dziś nie pojmują znaków czasu lub zrozumieć ich niechcą, nie będą mieli prawa skarżyć się, jeżeli proces ten przejdzie zwycięzko ponad ich głowami.

?

KRONIKA LITERACKA.

Tadeusz Wojciechowski. O Piaście i piaście. Kraków, nakładem Akademii umiejętności, 1895, str. 51.

Legenda o Piaście przechowała się w dwóch postaciach: w kronice Galla i t. zw. kronice wielkopolskiej. Pomijając zachodzące pomiędzy niemi różnice, godzą się obie legendy na to, że Piast był biednym rolnikiem, ratajem książęcym, i że podczas pobytu u niego pi lgrzymów rozmnożył się cudownie pokarm i napój. Uczony historyk stara się wytłómaczyć tę legendę, której źródło upatruje w prastarej aryjskiej baśni o biednym i miłosiernym, a za gościnność cudownie nagrodzonym gospodarzu; za najbardziej spokrewnioną z nią uważa grecką powieść o Filemonie i Baucydzie. Znalazłszy w źródłach XII i XIII w. wzmianki o urzędnikach dworskich, zwanych paedagogus albo metritor, sądzi, iż po polsku nazywali się oni piastunami, a przez skrócenie piastami, a pełnili mniej więcej ten sam urząd, co majordomi na dworze królów frankońskich. Wnioski dr. Wojciechowskiego, wysnute z rozumowania, opartego na materyale historycznym i etymologicznym, streszczają się w dwóch punktach: a) że nie było imienia osobowego Piasta, a był tylko urząd piastów; b) że ojciec historycznego Ziemowita, a raczej on sam, był piastem poprzedniego księcia. W legendzie, podanej przez Galla, widzi dr. W. tendencyę polityczną: Piastowie dostąpili do tronu przez zamach na Popielów i w interesie ich leżało pokryć cudownością początki swej dynastyi.

* * *

W Warszawie pod redakcyą p. Fr. Karpińskiego wychodzić będzie „Cyklista“, pismo poświęcone sportowi. — P. Stanisław Jakubowicz opracował dziełko „Zarys przędzenia wełny czesankowej“ a wydał je p. Hipolit Wawelberg. — Maryan Jasieńczyk wykończył w Genewie powieść ze stosunków ludowych „W Wielgiem“. — Pp. Jan Karłowicz, Adam Kryński, Władysław Niedźwiedzki, Józef Przyborowski, rozpoczęli wydawnictwo „Słownik języka polskiego“, którego arkusz próbny, dla wywołania uwag, puszczony został z druku. — Ukazał się już przekład francuzki Sienkiewiczowskiej powieści „Bez dogmatu“ wykonany przez hr. A. Wodzińskiego.

* * *

Zatarguczonych. Prof. J. J. Boguski opowiada w „Tygodniku Ilustrowanym“ o świeżym zatargu, który miał miejsce pomiędzy najznakomitszym ze współczesnych naszych przyrodników, prof. Olszewskim, a jakimś wyjątkowo zaborczym uczonym angielskim, Dewarem. Szło o to, który z uczonych posiada prawo pierwszeństwa (Prioritätsrecht) w kwestyi odkryć, porobionych w dziedzinie skraplania gazów trwałych (tlen, azot, wodór itp.). Nasz uczony zaprotestował w poważnem czasopiśmie „Nature“ przeciw przywłaszczeniu sobie jego odkryć przez Dewara. Dewar odpowiedział wyniośle i ironicznie, zaznaczając, że wiedzy swej nie czerpał z „Bulletin de Cracovie“. W obronie Olszewskiego powstał przeciw Dewarowi uczony Pattison Muir z Cambridge, wykazując szeregiem zestawień chronologicznych prawo pierwszeństwa naszego uczonego. To wystąpienie w obronie cudzoziemca dowodzi wysokiego poczucia sprawiedliwości, którem zaprawdę poszczycić się mogą uczeni angielscy.

* * *

O p. Wyzewie. Do lwowskiego „Przeglądu“ piszą z Paryża: Zrehabilitowany we Francyi Wagner ma także wielkiego przyjaciela w naszym rodaku p. de Wyzewie, stałym współpracowniku pierwszorzędnych pism francuzkich. P. de Wyzewa wygłosił niedawno w Genewie szereg publicznych odczytów, które były jedną apoteozą Wagnera i jego kierunku. Na innych kompozytorów za to jest p. de Wyzewa bardzo niełaskaw. I tak: Masseneta nazwał „miłym gitarzystą“, marnującym talent zbytkiem produkcyi; o Verdim powiedział, że „na starość usiłuje odkupić sześćdziesiąt lat mizernej swojej działalności“; Mayerbeera nazywa „maszyną“, a o Mascagnim, który „tremolandami wywołuje efekty dramatyczne“, wcale nie chciał mówić. Jeden Smetana wyszedł cało z tej łaźni wagnerowskiej. P. de Wyzewa unosił się nad czeskim kompozytorem, mianowicie nad temi jego operami, które, jak „Dalibor“, były wzorowane na Wagnerze. Podobno jednak publiczność w Genewie nie okazywała wielkiej solidarności z poglądami p. de Wyzewy.

* * *

Niewydane poezye Goethego. W stowarzyszeniu wielbicieli Goethego w Wejmarze p. Suphan odczytał seryę poezyi miłosnych Goethego, nieznanych dotychczas i nie ogłoszonych drukiem. Wiersze zawarte są w rękopisie, noszącym tytuł „Annete“. Pod tem imieniem należy rozumieć pannę Annę, Katarzynę Schönkopf, której poeta oddał serce na... kilka tygodni. Znalezione przez Suphana wiersze są prawdziwemi utworami młodzieńczemi, wśród których zwrotka „Do moich piosenek“ jest istotną perłą poetycką. Znajdujemy tu dalej fantazyę „Sen“, elegię „Na śmierć brata mego przyjaciela“, mianowicie Behrischa, który wywierał wpływ bardzo ujemny na młodość poety. Nadto zbiorek zawiera tłómaczenia z Voltaire'a „Aus dem französischen des Herrn v. Voltaire“. Dedykacya „Annety“ brzmi jak następuje:

Es nannten ihre Bücher
Die Alten sonst nach Göttern
Nach Musen und nach Freunden,
Doch keiner nach der Liebsten;
Warum soll't ich, Annete,
Die Du mir Gottheit, Muse
Und Freund mir bist, und Alles,
Dies Buch nicht auch nach Deinem
Geliebten Namen nennen?

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Namiestnik Galicyi, hr. Badeni, powołany został telegraficznie do Wiednia. Wiedeńskie dzienniki wyrażają przypuszczenie, że nominacya hrabiego Badeniego na prezesa ministrów jest bardzo bliską. — Izba belgijska uchwaliła wszystkie trzynaście artykułów ustawy szkolnej, wraz z licznemi wnioskami dodatkowemi. Trzecie czytanie ustawy odbędzie się dopiero wówczas, gdy deputowani otrzymają w druku cały projekt, wraz z uchwalonemi wnioskami. Komitet jeneralny, który się zajmował organizowaniem manifestacyi przeciwko ustawie szkolnej, postanowił prosić o audyencyą u króla, ażeby wyjaśnić, że projekt szkolny narusza konstytucyą. Komitet chce przedsięwziąć także kroki, aby senat ustawę odrzucił. — Domniemany następca tronu, arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este, zachorował na katar płuc. Cesarz udzielił mu dłuższego urlopu dla przyjścia do zdrowia. Arcyksiążę zamierza spędzić zimę na zamku ojca swojego, arcyksięcia Karola Ludwika, Rottenstein pod Meranem. Do ostatnich dni o chorobie jego nic nie wiedziano w szerszych kołach. — Wojska angielskie zabierają się do wspólnej akcyi z Włochami, celem obsadzenia Kassali i Zeili. — John Redmond w mowie do wyborców oświadczył, że skoro Anglia odmawia minimum ustępstw home-rule'u, trzeba zerwać Irlandyi z jej rządem. Sesya parlamentu została otwartą. — Rząd węgierski pozwolił na odbycie w d. 10, 11 i 12 b. m. w Peszcie kongresu narodowości niewęgierskich, na który zaproszenia podpisali: Mangra, Mundron (z Turocz St. Martin), dr. Emil Gavrila, Józef Svelka, Andrzej Rafaj, Peweł Jakob w imieniu Rumunów, Serbów i Słowaków. Pierwsze posiedzenie otwarto mową Mangra i uchwalono lojalny adres do króla; żądania kongresu wyłożono w 21 punktach. — Przy wyborach do rad departamentalnych zyskali republikanie francuscy skutkiem sojuszu z monarchistami, olbrzymią większością 90 nowych mandatów, a socyaliści zupełnie przepadli. — Eskadra hiszpańska, złożona z sześciu okrętów wojennych, zbiera się pod Tangerem, gdzie przebywają jednocześnie cztery okręty angielskie a bawią już statki niemieckie; celem tej demonstracyi jest podobno wymuszenie na sułtanie przyjęcia stałych konsulów w Fezie, na co już Francya uzyskała zezwolenie. — Podobno powstańcy na Kubie pobili na nowo wojska hiszpańskie.

* **Teatr i muzyka.** Gabryela Zapolska po ukończeniu występów na scenie warszawskiej gościć będzie w teatrze łódzkim. — P. Józef Adamowski, wiolonczelista dotąd bawiący w Ameryce, przyjął miejsce profesora w konserwatoryum w Saratowie. — Mira Hellerówna przybyła do Krakowa na szereg występów gościnnych w operze; tamże wystąpiła p. Kamilowa w „Trawiacie“ i tenor Lewicki w tejże operze. — Pan Barabasz zamianowany został kierownikiem opery krakowskiej jesiennej, której imprezę przedsięwziął p. Pawlikowski. — Michał Bałucki pisze w Marienbadzie nową komedyę „Feministki“. — Podobno Jan Gall zamierza przesiedlić się z Krakowa do Monachium, gdzie ma objąć profesurę w szkole śpiewu — P Wanda Stojowska zaangażowaną została na cały sezon do paryskiej opery komicznej przez dyr. Carvalho. — Andrzej hr. Fredro (syn Jana, wnuk Aleksandra) napisał fraszkę sceniczną „Stowarzyszenie kobiet wyższych“, którą grano w teatrze u wód w Krynicy. — Nowy balet „Laurin“ z muzyką Moszkowskiego, wystawiony będzie w berlińskim teatrze Krola.

Zmarli:

* **Grabowski Jan**, kompozytor muzyczny, w 21 roku życia w Krakowie.

* **Robert Tobevenz**, wybitny rzeźbiarz niemiecki, profesor w Berlinie, tamże 31 lipca.

* **Marya Giemtiui**, z domu Grzymalanka, tłómaczka niektórych utworów Sienkiewicza na język włoski, w Genewie.

* **Jenerał Karandiejew**, dyrektor teatrów warszawskich.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 35. Poznań, Niedziela 1. września 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Gaszenie ducha.

Jeżeli prawdą jest, że hasło „budzenia ducha“ zrodziło histeryą polityczną w narodzie polskim i odwróciwszy uwagę od realnych potrzeb społeczeństwa, wprawiło nas w stan odurzenia i nadczułości, — jeżeli prawdą jest, że zapatrzeni i zasłuchani w blaski i hałasy rakiet politycznych, odwykliśmy zupełnie od subtelnej i logicznej analizy społecznej, schylając głowy przed bóstwem frazesu, — to nie mniej pewnikiem się staje, że odwrotne hasło „gaszenia ducha“ poczęliśmy stósować nie z ostrożnością lekarza operującego niebezpiecznem antidotum, lecz z szalonem przestrachem człowieka zajętego płomieniem, który w ucieczce przed palącym żywiołem rzuca się w lodowy przerębel i ginie. My jesteśmy nietylko „narodem pozorów“, ale i narodem kontrastów. Odwrót nasz nie jest prawie nigdy spokojnem cofaniem, lecz zawsze nieomal dziką ucieczką, — z ekstremu w ekstrem, z jednej ostateczności w drugą.

Dzieje naszej dyplomacyi berlińskiej stały się charakterystycznym przykładem tego rysu narodowego, a polityka prowincyonalna z ostatnich lat kilku wspina się na palce, by dorość wysokości parlamentarnych przedstawicieli swoich, i tworzy nową edycyę — Scylli i Charybdy. Niema dziś pewnie w społeczeństwie poznańskiem człowieka, któryby zasadniczo budował ołtarze dla tkliwego sentymentalizmu i z dzwoneczkami pląsając po kraju w brzęku narodowym upatrywał jutro ojczyzny, ale z ziemi wyrastają codziennie nowi ludzie, którzy w imię *wykrzywionych* haseł „pracy organicznej“ każdą żywszą manifestacyą uczuć narodowych, każdy apel do wyobraźni tłumów, każde drgnienie patryozyzmu zbiorowego witają śmiechem szyderczym. Czegoż to dzisiaj nie ochrzcono Donkiszoteryą polityczną?! Msza uroczysta na cześć bohatera Racławic, mundur gimnastycznego towarzystwa „Sokół“, zbieranie funduszu Kościuszkowskiego, praca nad rozbudzeniem samowiedzy narodowej na Szląsku, wycieczki ziomków naszych na wystawę poznańską, — wszystko to zyskuje miano czczej demonstracyi, samogwałtu narodowego lub niezdrowego szowinizmu.

W tym samym celu starano się usilnie ośmieszyć każde zebranie polityczne, pozbawione charakteru lojalnych umizgów, w tym samym celu zalecono nam oddać się na łaskę i niełaskę Kościoła i zmienić się w mgnieniu oka z narodu Polaków w międzynarodowe społeczeństwo „katolików po polsku mówiących“, — w tym samym wreszcie celu urągano w najświeższym czasie przybyszom galicyjskim i szląskim, starając się zepsuć harmonią rozdzielonych cząstek ojczyzny i kres położyć raz na zawsze objawom narodowego braterstwa. Nie całe społeczeństwo i nie większość jego zaprzęgła się do tej wstrętnej roboty, ale pewien odłam prasy z gronem służalców swoich i bezwzględnych wielbicieli ugodowego cielca, pewne grono bezkrytycznych Janczarów, klęczących przed tronem dostojnych „powag“ nowego autoramentu, pewien zastęp zjadaczy chleba, lękających się własnego cienia i nie odczuwających żadnych potrzeb krom Imperatywu żołądka i ambitnej spekulacyi, podjął się zrywania braterskich węzłów narodowych, aby zaświadczyć przed Berlinem, że *Polska* pogrzebana, a żyje tylko poznańska prowincya pruskiej monarchii. Czego nie odważono się wyśpiewać w „Kuryerze Poznańskim“, śpiewano w „Czasie“ krakowskim, — czego nie zdołano w Księstwie wprawić w ruch skuteczny, puszczano w obieg na bytomskim bruku. Nie darowano Galicyi, nie darowano przedstawicielom Szląska i pod adresem Warmiaków i Kaszubów wysłano wyraźną przestrogę, by do drzwi naszych nie ośmielili się pukać.

Współpracownik nasz szląski charakteryzuje w korespondencyi dzisiejszej intrygi bytomskiego „Katolika“ dla sparaliżowania górnoszląskiej wizyty w grodzie Przemysława, a gdy dzięki niestrudzonej działalności redaktora „Gazety Opolskiej“ lud odrodzony, mimo żelaznej ręki bytomskich możnowładzców. wyciągnął dłonie ku starej ojczyznie i uściskiem swoim stwierdzić zapragnął, że on nie „*Szlązak*“ jedynie i nie „*katolik*“ wyłącznie, lecz „*Polak*“, wtedy tu na miejscu wyszedł cichy rozkaz z kuźni lojalizmu, by czynem przypieczętować zasadę, że Poznań w Górnym Szląsku brata nie uznaje.

Rozkaz ten nie minął bez echa. Pustką nie otoczył on wprawdzie górnoszląskiej drużyny, ale z szeregów gospodarzy domu wypłoszył sporo wyższej inteligencyi, szlachty i całe bez wyjątku duchowieństwo. Lud witał się z ludem, — brać starsza stała na uboczu lub fabrykowała w „Kuryerze“ gromy na przybyszów.

Nieobecność kleru w uroczystych pierwocinach narodowego przymierza nie zdziwiłaby nas bynajmniej, gdyby w tem absentyzmie politycznym była jednolitość i sprawiedliwość, — gdyby, jak za rządów ks. kardynała Ledóchowskiego, duchowieństwo pożegnało się istotnie z całem życiem publicznem, nie popierało żadnego kierunku i służbie bożej wyłącznie poświęciło swój czas i pracę. Ale zaprotestować musimy stanowczo przeciw takiej nieobecności, która sama w sobie jest manifestacyą polityczną, — zaprotestować musimy przeciw temu „Sic volo, sic iubeo“, które duchowieństwu zaleca stawać wyłącznie na szańcach dyplomacyi ugodowej, tu wspierać powagą swoją interesy jednej koteryi, tu w charakterze namaszczonych, władzą klątwy i błogosławieństwa wyposażonych apostołów ratować przed bankructwem akcye lojalizmu. Albo władza zaleca duchowieństwu zupełny absentyzm polityczny, — albo pozostawia mu swobodę służenia temu kierunkowi, który ideom poszczególnych jednostek odpowiada. Innego „*aut-aut*“ uznać nie możemy, bo przymusowe uniformowanie kleru według jednej barwy politycznej jest teroryzmem gwałcącym wolność sumienia i szkodliwem dla sprawy publicznej. W chwilach górnoszląskiej wizyty jednak taka stronnicza komenda zabrzmieć musiała w osłonie tajemnicy urzędowej, bo nikt chyba nie przypuści, że cały stan duchowny wyznaje tylko jeden kanon polityczny, bo wiemy dobrze, ilu gorących przyjaciół emancypacyi Górnego Szląska znajduje się w szeregach kleru naszego, a przecież nikt z kapłanów katolickich nie pozdrowił odrodzonych braci, nikt im ręki uścisnąć nie raczył, nikt z nimi nawet, mimo próśb i starań, nie odmówił krótkiej modlitwy na powitanie. Miałażby to być poprawna edycya słynnego interwiewu z redaktorem „Börsen-Courier'a“?

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

Wychodząca w Toruniu „Gazeta Codzienna“ i „Gazeta Gdańska“ zamieściły następującą odezwę:

„Zamierza się corocznie w czasie wielkich wakacyi urządzać zjazdy akademików Polaków z Prus Zachodnich. Panowie akademicy oraz i starsi panowie, przyklaskujący tej myśli, zechcą łaskawie swój adres podać do redakcyi „Gazety Codziennej“ albo do redakcyi „Gazety Gdańskiej“.

Wobec pogłosek, że w kilku miejscowościach Polacy zamierzają wziąć udział w uroczystym obchodzie 25-tej rocznicy zwycięztwa sedańskiego, takie wypowiada opinie w nr. 100 „Gazeta Grudziądzka“:

„Jasnem to jak na dłoni, że nie wolno Polakom w sedańskich festynach brać udziału i to ani pojedyń-

czym osobom, ani towarzystwom polskim, jakibądź takowe mają charakter i chociażby je jak najuprzejmiej zaproszono.

Tego wymaga poczucie własnej godności, poczucie obowiązku względem srodze pokrzywdzonej sprawy narodowej. Nie wolno nam łączyć się z Niemcami w objawach radości, gdy oni użyli sił naszych, krwi i kości polskich, dla wykończenia gmachu swej potęgi, a następnie wypowiedzieli zagładę najdroższym naszym skarbom narodowym, a właśnie w ostatnich czasach nienawiść swą do Polaków w najzagorzalszy okazują sposób.

—

W sprawie sprzedaży Bielaw Komisyi kolonizacyjnej znajdujemy następujące uwagi w numerze 195 „Gońca Wielkop.“:

„W tym samym czasie, kiedy p. Wł. Paruszewski przemyśliwał nad sławnem „coup“, który mu kosztem wspomnień po ś. p. Ignacym Łyskowskim i kosztem dobrej sławy spadkobierców jego miało przynieść 30 tysięcy grzywien zarobku, w tym samym czasie, na cztery dni przed sprzedażą Mileszew, zaprzedali dnia 22-go lipca 1895-go roku panowie bracia Szymańscy — Bielawy.

Wieś ta, położona o ćwierć mili od Janówca, stacyi kolei żelaznej na Pałukach, należąca do parafii Łopienna, liczy 385,93 hektarów, czyli około 1600 mórg, a tak jak na wszystkie polskie majątki na Pałukach i Kujawach komisya kolonizacyjna systematycznie poluje, chcąc klinem przebić się do Gopła i rozdzielić Prusy od Księstwa, tak też i na Bielawy ostrzyła ona sobie zęby, pamiętna na zasadę: „divide et impera!“

Jako właściciel Bielaw zapisany jest p. Teofil Szymański; ma on brata — obaj są bezdzietni, a choć nie pierwszej są młodości, to jednak mogliby dalej pracować na ojczystej glebie, zwłaszcza że byli oszczędni, a wieś przynosiła piękne dochody. Taksa landszaftowa z roku 1872-go wynosiła 213,000 m, z których połowa jako dług była zahipotekowaną. W r. 1888 konwertował p. Teofil Szymański 12,900 talarów na 3 i pół procentową pożyczkę, a dziś po 7 latach sprzedaje wieś za nizką stosunkowo cenę komisyi kolonizacyjnej.

Można sobie wyobrazić, z jaką przyjemnością pan Wittenburg podpisywał odnośne akta i papiery, jak mile musiało mu być w duszy, jeżeli myślał, że w krótkim czasie także Mileszewy zdobędzie.

Panowie Szymańscy tak zgrabnie do sprzedaży się zabrali, że nikt nie wiedział o ich czynie, a skurczywszy Ojczyznę, przenieśli się do Poznania, gdzie w miłem dolce farniente przeżuwają sławę patryotycznego czynu swego.

Jeżeli prawdą jest, że chwalili się kiedyś z tego, iż z czasem przekażą Bielawy na Pomoc Naukową Marcinkowskiego, jeżeli wierzyć można pogłoskom, że w sprzecznem urągowisku dla idei nieśmiertelnego Karola panowie eksdziedzice zaspakajają potrzeby swe u poznańskich żydów, natenczas nie pozostaje nam nic więcej, jak napiętnować ten nowy dowód całkowitego braku poczucia obywatelskiego.

Oto wychowańcy szkoły utylitaryzmu!

Niech im Bóg nie pamięta krzywdy, jaką wyrządzili ludowi polskiemu.“

—

W artykule p. t „Rozpusta w patryotyzmie“ głosi „Orędownik“ (nr. 196) następujące Memento pod adresem społeczeństwa poznańskiego:

„Przez lat 25 przeszło denerwowała, galwanizowała i demoralizowała szlachta przez „Dziennik Pozn.“ całe społeczeństwo; w ostatnich latach nawet „Kuryer Pozn.“, dawniej iście konserwatywny, chwycił się oburącz tej roboty demoralizującej. I jeszcze nie było nietylko naprawy, ale nawet rozumienia. Czyż to propagowanie i wysławianie polityki partyi dworskiej, tego nowego kursu toruńskiego, nie było bezmyślnem i lekkomyślnem tańcowaniem około — złotego cielca!

Trzeba było takiego palca Bożego, jaki nas dotknął przez Mileszewy, aby ludzi do przytomności doprowadzić.

Nietylko usiłowania i praca starego pokolenia idzie — z względu na cel ratowania podstaw narodowości — prawie cała na marne, ale i młodsze pokolenie, już w życiu występujące albo do życia się zabierające, jest przez wpływy organów szlacheckich i naszej dominującej opinii publicznej, — przez tę „berbeluchę“, jak się korespondent „Dziennika Pozn.“ z Prus Zach. wyraża, z gruntu zdemoralizowane i niezdolne swoim własnym obowiązkom zadość uczynić, a cóż dopiero błędy stare naprawić.

Ta demoralizacya ogarnęła także prawie wszystkie szychty naszego mięnniejszego mieszczaństwa tak w Poznaniu jak na prowincyi. W Poznaniu na tle tych właśnie szycht pojawia się jedna czarna plama po drugiej. Obecnie są w tych kołach stosunki tak smutne, tak schorzałe, tak duszne i tak zgniłe, że chyba te szychty staną się ciężarem społeczeństwa, ale podporą „skołatanej Ojczyzny“ nie będą. Karmiły się i karmią po dziś dzień — „berbeluchą“ i z powodu niej marnieją.

Że tak w tej warstwie, jak w warstwie szlachty zachodzą zacne wyjątki, to niewątpliwa, ale tych wyjątków jest za mało, żeby mogły społeczeństwem — nawrócić na miejscu.

Pali się u nas na wszystkich punktach, — pali się głównie z naszej winy — mamy polityków, którzy jeszcze znoszą do tego ognia smolne drzewo — w dobrej wierze, i palić się będzie, aż się nie wypali do fundamentów.

Jedyny ratunek polegałby na tem, żeby jeszcze te warstwy, których demoralizacya długoletnia i systematyczna nie zdołała dosięgnąć i zatruć, ocalić przed tym pożarem i zabezpieczyć przed wpływami demoralizującemi, ażeby z tych warstw wychowało się pokolenie zdrowsze na ciele i duszy, pokolenie pracy i obowiązku, a nie bezmyślna gromada, żująca frazesy i ginąca wśród mówek i toastów.

Mileszewy — ten palec Boży — powinien przynajmniej prasę naszą pobudzić do pracy w tym kierunku; materyału do rozwagi podają one aż nadto.“

—

Walka wyborcza w pszczyńsko-rybnickim okręgu na Górnym Szląsku wre bezustannie w pismach niemieckich i polskich. Dzienniki służące idei germanizacyjnej wysuwają oczywiście znowu przeciw kandydatom naszym sukienkę duchowną i powtarzają ulubiony frazes, że ten tylko prawym katolikiem nazywać się może, kto służy ślepo stronnictwu centrum, jego pismom, komitetom i kandydatom. Sprawie tej poświęca „Katolik“ bytomski następujące uwagi:

„Przykro się robi, gdy się widzi, jakich sztuk używa „Kuryer“ górnoszląski, aby pp. Huenego i Latacza obrać posłami. Przewodniczący komitetu, Przew. ks, dziekan Philipi, otrzymał z powodu wyborów niegrzeczne listy bezimienne. Kto takie listy pisze, postępuje bardzo brzydko i zasługuje na naganę. W tym punkcie „Kuryer“ ma słuszność.

Lecz nie ma słuszności, skoro z powodu kilku listów bezimiennych usiłuje ze sprawy wyborów zrobić sprawę „miłości, wierności zaufania ludu do duchowieństwa“ i gdy głosi, jeżeli wyborcy chcą okazać miłość, wierność, ufność do duchowieństwa, powinni wybrać pp. Huenego i Latacza na posłów. Ani duchowieństwu, ani ks. Philippiemu nie zaprzecza nikt wielkich zasług, ale te zasługi nie mają styczności z osobami pp. Huenego i Latacza. Swoją drogą zasługi, a swoją kandydaci. Uważamy za rzecz niesłuszną i niepolityczną, gdy „Kuryer“ z miłości wierności ludu do księży chce uczynić drabiny, po których pp. Huene i Latacz do sejmu wniść mają. Jest to nadużywaniem stanowiska księży w tym celu, aby kandydatom Mikołowskim mandaty zapewnić. Nie ulega wątpliwości, że księża obu powiatów w większości z pewnością nie upoważnili „Kuryera“ do tego, ażeby miłości, jakiej u ludu zażywają, używał do wygładzania drogi pp. Huenemu i Lataczowi.

„Kuryer“ stara się przedstawić rzecz tak, jakoby ten, kto pp Huenego i Latacza nie chce, od księży się odrywał. To nieprawda, bo wyborcy nietylko od duchowieństwa się nie odrywają, ale nawet jednego z księży chcą mieć posłem Na cóż więc „Kuryer“ niepotrzebnie wyborców przed światem w złem świetle przedstawia i żale niesłuszne podnosi? Sprawa jest bardzo prosta: Wyborcy w Pszczyńsko-Rybnickiem kochają księży i mają do nich zaufanie, szczególnie też do Przew. ks. dziekana Philippiego. Lecz domagają się, ażeby przy wyborach zważano na ich życzenie i nie narzucano im niemiłych kandydatów na posłów. Przy wyborach chodzi o osoby kandydatów, nie o duchowieństwo.“

Słowa powyższe powinny również na poznańskim gruncie znaleść echo rozgłośne. Wyzyskiwanie religii w celach politycznych stało się bowiem i u nas ulubioną taktyką „ugodowo-konserwatywnego“ stronnictwa.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Zagrzebski „Obzor“ omawia w artykule wstępnym stosunek wzajemny dwóch stronnictw czeskich i taki o nich sąd wydaje:

„Dziś w Czechach doszli do przekonania Młodo- i Staroczesi, że zgoda w narodzie potrzebna, że rozdział obecny działa szkodliwie. Staroczesi nie mają większości wyborców za sobą, ale mają inteligencyę i to spory jej zastęp. Staroczesi chcą zgody kosztem ustępstw pewnych, ale Młodoczesi żądają, aby się im poddali zupełnie. Chociaż przeciwnikami Młodoczechów nie jesteśmy, to przecież tutaj słuszność po stronie staroczeskiej widzimy.

„Staroczesi atoli popełniają ten błąd, iż Młodoczechów nie dość popierają we walce z namiestnikiem hr. Thunem. Rządzą się oni względami politycznymi wobec arystokracyi czeskiej, z którą nie chcą zrywać zupełnie.

„Niedawno temu przybyli na wystawę do Pragi Morawianie. Zamiast z tej sposobności

---

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

WIRSKA.

Wrogiem mówisz — Wandzia?...

WANDA.

Coś takiego.

WIRSKA.

Widocznie obudziłaś w nim współczucie — ja mu zawsze odradzam sprawy rozwodów... To zawsze rzecz niemoralna.

LEON.

Mylisz się, mamo: jako uczciwy adwokat — adwokat członek społeczeństwa — pragnę zawsze bronić sprawiedliwości i swobody. W tym razie nie miałem innych pobudek.

JOZEF.

Aleś ty podobno był przyjacielem męża pani.

LEON.

Rzeczywiście; lecz gdy mój przyjaciel dopuszcza się gwałtu, staję się wrogiem gwałtu mojego przyjaciela.

WIRSKA.

Lecz stracony Kazio dla ciebie.

LEON.

W każdym razie musiałem go tracić.

LEON (*do Wandy*).

Rozstanie się pani z mężem podniosło ją w mych oczach... Dotąd miałem cię tylko za zręcznego wyzyskiwacza męża, za karyerowiczkę.

WIRSKI.

Ale, ale. Czy wie pani, czytałem w Kuryerze, że Kazio miał znów koncert, złożony przeważnie z pani kompozycyi.

LEON (*do Wandy*).

Lecz nie myśl pani, byś czystą była w mych oczach... ciążą na tobie poważne zarzuty... przynajmniej dla mnie.

(*Wanda z ironią patrzy na niego.*)

LEON (*z dreszczem*).

Co mi pani chce powiedzieć tem drwiącem spojrzeniem?... Czy to, że „tłum“ niegodny jest roztrząsania jej czynów, ani zdolny cię dotknąć?...

WANDA.

Obojętna jestem na jego pociski.

LEON.

Ha! mówisz mi pani aż nazbyt jasno, że ja cię zranić nie mogę.

WANDA (*wzrusza ramionami*).

Ktoby to potrafił?

LEON.

Oburzające zarozumienie daje pani złudzenie, żeś wyższa ponad ludzi

WANDA (*niecierpliwie*).

Jestem po prostu z krwi tylko odmienna. Albo też, wy, nie znając mnie, nie wiecie, co mnie dotknąć może.

LEON.

Radzę pani dać się poznać.

WANDA (*śmieje się*).

Według jakiej doktryny? Skromność mówi: „siedź w kącie“ — a praktyczność „nie odsłaniaj swych słabych stron“. Żyjemy w czasach tak dzikich, że choćby się było przyjacielem ludzi, trzeba się trzymać odpornie, pamiętając, że ani przypuszczalnie są naszymi wrogami. Jako czciciel praktyczności życiowej powinieneś pan zrozumieć, że w odsłonięciu się niema interesu dla mnie.

LEON (*z ironią, dziką radością*).

Te słowa właśnie odkryły mi panią. Zdradziłaś się.

WANDA (*rozbawiona*).

Z czem?

LEON.

Z świadomem graniem komedyi, z świadomem i umyślnem otaczaniem się mgłą tajemniczości.

WANDA (*zdziwiona*).

Więc ja, ja gram komedyą? otaczam się mgłami?... Ja, szczera aż do brutalności?

skorzystać i powitać ich wspólnie, toczy się pomiędzy staroczeskimi a młodoczeskimi pismami polemika, które stronnictwo przysłużyło się więcej do rozbudzenia ducha na Morawii.

„Według naszego mniemania jedno i drugie. Młodoczesi zarzucają swym przeciwnikom, iż zgrzeszyli wobec przeszłości, ci znowu, że partyi młodoczeskiej nie powiodło się Czechów zjednoczyć i dla tego programu pozyskać. Zasługą Staroczechów jest, że w roku 1871 reskryptem cesarskim zostało Czechom przyznane prawo państwowe, na które dziś tak wielką kładzie się w Czechach wagę jest także prawdą, że stronnictwo Riegera i Palackiego obudziła świadomość narodową w ludzie czeskim.

„Nie bez słuszności jednak spotyka Staroczechów zarzut, iż zgrzeszyli wobec Słowiańszczyzny, spuszczając ją z oka. Młodoczesi są lepszymi Słowianami, ale błąd ten ich przeciwnicy dziś już naprawili, a nierzadko przychodzi nam w pismach staroczeskich z trafniejszą oceną naszych stosunków się spotkać aniżeli w pismach młodoczeskich.

„My Chorwaci, jako szczerzy Słowianie, nie możemy potępiać ni jednych ni drugich. Naszem życzeniem jest, aby oba stronnictwa połączyły się jak najwcześniej“.

* * *

Młodosłowiński dziennik, wychodzący w Lublanie „Slovenski Narod“ pisze o klerykałach słowińskich:

„Nasze stronnictwo katolickie nie postępuje sobie konsekwentnie. „Slovenec“, główny organ klerykałów występował z okazyi wieca katolickiego za zgodą wszystkich Słowińców, nie znajduje atoli słów potępienia dla duchowieństwa młodszego w krainie, którego działalność w punkcie narodowym jest demoralizującą.

„„Slovenec“ pisał, że duchowieństwo słowińskie musi mieć na oku interes kościoła. Krótko potem połączyli się jego przyjaciele z liberałami niemieckimi w Wiedniu. „Slovenec“ liberałów niemieckich kilkakrotnie napiętnował, jako wrogów najniebezpieczniejszych kościoła. Gdy ci liberałowie jednak byli na drodze bankructwa, nasi prawowierni katolicy poszli im w sukurs, a mimo to nazywają się dalej obrońcami wiary. Najwierniejsi sprzymierzeńcy liberałów nie znajdują się wśród nas, lecz wśród obozu klerykalnego. Razem z liberalizmem przejęli nasi klerykalni obronę kapitalizmu.

„Nasze stronnictwo oświadczyło się za powszechnem prawem głosowania, przeciw temu prawu wystąpili klerykałowie wiedeńscy a razem z nimi i nasi.

Z tego, co powiedzieliśmy, wychodzi na jaw dowodnie, na jakich to nogach glinianych spoczywa katolicyzm i demokratyzm naszych klerykałów...“

* * *

Białogrodzki „Widelo“, organ stronnictwa postępowego pisze pod adresem pism serbskich wychodzących w Austro-Węgrzech:

„Nie chcemy się narzucać w roli nauczyciela naszym braciom mieszkającym z tamtej strony Sawy i Dunaju, przecież naszym obowiązkiem zwrócić uwagę na stan rzeczy, jaki wśród prasy serbskiej poza granicami Królestwa istnieje.

„Wśród naszych braci powstały stronnictwa rozliczne, a zawiść stronniczą rozdmuchały pisma, naśladujące ślepo pisma zagraniczne, nazywając się radykalnemi, postępowcami, konserwatywnemi itd.

„Znamy stosunki naszej braci, O istnieniu tych stronnictw nie może być mowy. Istnienie ich jest tylko pozorne, istnieją one tylko w prasie. Ponieważ każde pismo skupia obok siebie ludzi inteligentnych, a inteligencya różne jest w swych zapatrywaniach, przeto mogą być różnice pomiędzy nią, nigdy jednak pomiędzy ludem. Mając to w pamięci, nie powinna prasa serbska dzielić się na stronnictwa, lecz powinna być wyrazem ludu serbskiego, w którym niema podziału klasowego, uwidoczniającego takie różnice, jakie istnieją na zachodzie.

„Drugim błędem tejże prasy jest to, iż o sprawach obchodzących królestwo nie piszą ze stanowiska ogólno serbskiego, ale ze stanowiska partyjnego. Tak n. p. Zagrzebski „Srbobron“ zaczepia gwałtownie serbską partyą postępową. Jego artykuły znów drukują dzienniki chorwackie, ażeby pokazać co rząd serbski znaczy i tym sposobem szkodzić interesom Serbów austro-węgierskich.

Mogłaby nam serbska zadunajska prasa zarzucić, iż stronnictwa i u nas istnieją. Rzecz to atoli inna; mamy rząd, mamy państwo i niezawisłość polityczną, są one wyższemi instancyami, których nasi bracia nie posiadają i na których opierać się nie mogą.

„Objawem nader smutnym jest i to, że tak często przychodzi nam w pismach serbskich spotykać się z zaczepkami, wymierzonemi przeciw naszej dynastyi. Tym sposobem prasa serbska nie przysłuży się dobrej sprawie. Bądź co bądź historya naszego państwa ściśle jest związana z losami dynastyi, która bohaterskich wydała ludzi.

„Od napaści na dynastyą, krok tylko do napądania całego kraju. Już też często piszą tamtejsze pisma w ten sposób o Serbii i o naszych stosunkach, jakby to były pisma wrogie serbskiemu narodowi.

„Królestwo serbskie powinno być dumą dla wszystkich Serbów, Białogród centrum naszego życia narodowego. Jeżeli prasa serbska nie zaniecha swej zgubnej taktyki, wówczas lud serbski przestanie cenić ten kawałek wolnej ziemi serbskiej, wolność i niezawisłość...“

D. K.



O „Rodzinie Połanieckich“.

(Ciąg dalszy.)

Odtąd zaczyna psuć się z dniem każdym, w każdym calu wygląda z niego człowiek pospolity. Do tej chwili wierzyliśmy na słowo Sienkiewiczowi, że to człowiek pracy, pewnych określonych dążności. Ale trudno wierzyć bez końca. Zaczynamy się pytać: czem jest właściwie Połaniecki, co robi, gdzie rezultaty jego energii, jaki cel ma w życiu? Przesiaduje podobno w biurze, pomaga wspólnikowi swemu Bigielowi w prowadzeniu interesów, wprowadził jakieś ulepszenie w fabrykacyi perkalików — bardzo to ładnie, aleć dziesiątki tysięcy czynią to samo i nie nabierają przez to prawa do patrzenia z góry na świat, do jakiegoś uznania. Połaniecki zaś wciąż uważa się za coś wyższego, a już w Krzemieniu zdradził się przed Marynią, że jeżeli się ożeni, to dla tego, aby miał „kogoś, co go uzna“. I on sam siebie wciąż uznaje, w każdem zetknięciu się z ludźmi przebija u niego chęć powiedzenia: oto ja, oto moje dzieła! jam jest lepszy, mądrzejszy od wszystkich! Dla czego? Oto powiększa swój majątek — jest to dobrze, ale dla niego, zresztą na świecie zawsze jedni tracą, a drudzy zyskują. Ale może to powiększenie majątku przyszło z wielkim nakładem pracy lub siły twórczej. Broń Boże! Mają zamknąć granicę dla wywozu zboża, więc Połaniecki wpada na myśl nagłych zakupów i przyjęcia znacznych zamówień z zagranicy. Udaje mu się — a nużby się nie udało? Zresztą na taką myśl wpadli prawdopodobnie i inni handlarze zbożem, nie wyłączając nawet żydków małomiasteczkowych. Udało się im, udało się i jemu — ale komu tu wić wieniec zasługi, z czego się pysznić przed sobą i światem. Ot, poszczęściło się i koniec! Tylko dorobkiewicz zadziera nos

---

LEON.

Powiedziałaś to pani sama. Zresztą szczerość pani jest tylko wybornym sposobem zgęszczenia mgły.

WANDA.

Być może, bo tak nawykliście czytać między wierszami, że gdy się zdarzy napisać prawdę wcieloną, omijacie ją dla domysłów.

LEON (*szyderczo*).

Więc pani jest świadomą tego sposobu!

WANDA (*śmieje się*).

A pan go odkryłeś, postępuj więc odpowiednio.

LEON.

Jeżeli się pomyliłem, wytłomacz mi pani swe słowa.

WANDA.

Wiedzże, sędzio surowy, że między ukrywaniem tego, co boli, a graniem komedyi jest gruba różnica. Włóż pan okulary, kiedy nie widzisz.

LEON.

Jesteś pani tak dziwną... nie dziw się więc mym zabawnym może w twych oczach sądom.

WANDA.

Tak, tak, wiem o tem, jestem dla was cielęciem o dwu głowach, więc przypuszczacie, że druga jest przyprawną. Nie możecie pojąć, że można być odmiennym... choć i to kwestya, czy wiecie czem jesteście.

LEON.

W każdym razie my, cielęta o jednej głowie stanowimy normalność.

WANDA.

Czyż zaprzeczyłam temu kiedykolwiek?

LEON.

Nie, lecz ze swej anormalności jesteś pani dumną, a tem co normalne, gardzisz.

WANDA.

Wytłomacz to sobie pan tem, że większość waryatów ma manią wielkości.

LEON.

Zbywasz mnie. Uważasz za niegodnego rozmowy z tobą.

WANDA.

Ależ powinnam być wdzięczną za zaszczyt uczyniony mi przez jednego z quasi — normalnych.

LEON.

Dla czego „quasi?“

WANDA.

Bo od zupełnie normalnych różnisz się pan choćby tem, że pragniesz stać się im potrzebnym.

LEON.

Zgadłaś pani; lecz to pragnienie we mnie jest racyonalnem... powiedz mi jednak, co stanowi różnicę między panią a nami?...

WIRSKA.

Może się przejdziemy?

WSZYSCY (*prócz Leona i Wandy*).

Idźmy!

LEON.

Pani nie wypiła swej kawy, ani ja. Gdy skończymy złączymy się z wami. Dobrze?

(*Wanda daje znak potwierdzający głową.*)

(*Wychodzą.*)

LEON.

Więc?

WANDA.

Przedewszystkiem różnice w stopniu natężenia życia. To, co wam na rok starczy, ja wyczerpuję w tydzień. To, czego wy używacie na święto życia, jest dla mnie chlebem powszednim.

LEON.

Masz pani słuszność... prowadzisz życie zbytkowne... lecz nie rozumiem jeszcze. Mów jaśniej.

WANDA.

Czyż nie dość jasno mówię?...

LEON.

Nie rozumiem dyalektu wybranych.

WANDA.

Zabawną jest pana szydercza pokora.

LEON.

Szydercza?! Więc...

WANDA.

Więc waszym stanem przeciętnym jest spokój; moim ruch; — wy niekiedy tylko zdobywacie się na myślenie ogólne, mój mózg

do góry w miarę wypełniania się kasy wertheimowskiej. Z drugiej strony najtęższym przemysłowcom, kupcom czystej krwi, powinie się często noga ślepą malują fortunę. A owa operacya zbożowa to jedyny czyn Połanieckiego przed ślubem...

Żeni się i jak każdy „lepszej krwi" lub dorobkiewicz jedzie do Włoch w podróż poślubną. Wolno mu, ale pospolitość ta razi. Dobrze przynajmniej, że nie udaje znawcy i nie kupuje dzieł sztuki i starożytności. Szczęście, które go nie odstępuje nawet poza krajem, prowadzi go do łoża Bukackiego. Ten miniaturowy Płoszowski, zrozpaczony, że nie był użyteczny na świecie nikomu i niczemu, zapisuje Połanieckiemu część swego dużego majątku, a resztę, kilka razy większą, daje mu do rozporządzenia na cele publiczne. No, niewielka to sztuka wprawdzie robić dobrze cudzemi pieniędzmi, ale przynajmniej pokaże Połaniecki, co umie, raz przecie, choć pośrednio, odniesie ogół korzyść z jego istnienia. Jako człowiek mający być rozumnym i praktycznym, z tysiąca potrzeb społeczeństwa wybierze te, co są najdonioślejsze, a jako mający posiadać energię, nie zaśpi sprawy, przeprowadzi ją szybko, dobrze rzecz zgruntuje i ugruntuje. Kto tak myśli, ten się myli. Połaniecki schował, co dostał, a o tem, co zrobić z owemi „celami publicznemi" rozmawiał raz i to nie wiadomo jak z Bigielem. Wogóle trudno mu było takiemi drobiazgami zaprzątać sobie głowę, bo był właśnie zajęty Maszkową.

W trzy czy cztery miesiące po ślubie z Marynią, z ową piękną, miłą, zacną, najlepszą z Maryń na świecie, w parę tygodni po radosnem dowiedzeniu się, że zostanie ojcem, nasz bohater wysila swą energię, swą „zdrową naturę" na uwiedzenie żony przyjacielowi. I popełnia ten czyn w sposób tak brutalny, szorstki, że ani o włos nie jest lepszym od Kopowskiego, z którego drwi i którym gardzi. Prawda znowu, że przychodzi refleksya; że nazywa siebie nędznikiem i że jak brutalnie połączył się węzłem namiętności z Maszkową, tak brutalnie ten węzeł rozerwał. Ale nie w tym jedynie wypadku stosunek Połanieckiego do żony nie jest stosunkiem człowieka, co „wyrobił w sobie zasady, miał je". Jest to po prostu despota domowy, który uważa żonę jako istotę przeznaczoną do spełniania funkcyi rozrodczych, której obowiązkiem oddawanie czci bałwochwalczej jego rozumowi i dzielności, oraz bezgraniczne posłuszeństwo. Dochodzi w żądaniu tego ostatniego nawet do aberacyi, mówiąc do Maryni: „ale ty mi pamiętaj, żeby była córka". Z szorstkością, którejby się nie przebaczyło parobkowi, ciągle daje uczuć Myryni, że mniej mu chodzi o nią, niż o dziecię, które ona nosi w swem łonie. Dopiero obrzydzenie, jakiego doznał po stosunku z Maszkową i zbliżające się ojcostwo, czynią w nim przewrót; a chwila, w której Marynia znajduje się w niebezpieczeństwie życia, godzi go niby zupełnie z zasadami. Przyczynia się do tego i wpływ rodzącej się w nim religijności. Szkoda tylko, że ten zwrot ku Bogu polega na zamiłowaniu Połanieckiego do frazesów. Marynia wychodząc raz do kościoła powiedziała „służba Boża". To go zastanowiło. Jeszcze więcej podobało mu się, kiedy Świrski podczas zwiedzania Koloseum poetycznie przedstawił upadek potęgi rzymskiej, na której ruinach wznoszą się „krzyże, krzyże, krzyże". Bierze wreszcie religię jak zdobywca, nie z gorącej wiary, ale olśniony jej blaskiem, potęgą i trwałością, bierze, bo mu jest potrzebna do spokoju, a on sobie już ukuł frazes, że spokój jest szczęściem życia. Zresztą wszystko minęło, a „msza wciąż się odprawia" — oto argument naiwnością swoją zaprawdę rozbrajający. Miałoby się ochotę powiedzieć Połanieckiemu: starsza od Kościoła jest bóżnica, — a więc zostań żydem.

Jak się to stało, tak się stało, dość, że Połaniecki dobrzeje na ostatnich kartach powieści. Jest nawet chwila, w której czytelnik sądzi, że ten „dzielny" człowiek zdolny jest rzeczywiście do czynu. Robi coś w tajemnicy, odbywa naradę z Bigielem, wyjeżdża i spędza po kilka dni za domem. I dowiadujemy się, że... nabył Krzemień. Marynia zachwycona, — nic w tem dziwnego, — któż jednak inny czynem tym tak bardzo miałby się zachwycać. Kupił, bo miał pieniądze, kupił tanio, zrobił dobry interes. A któż mający pieniądze nie zrobiłby dobrego interesu? Połaniecki miał na Krzemieniu wierzytelność, czuł od dawna gwałtowną chęć posiadania własnego kawałka ziemi, z Krzemieniem łączyły go wspomnienia, był na razie zakochany w Maryni, która nie mogła się pogodzić z utratą Krzemienia („a była jak nigdy śliczna"), a więc go kupił. Ogromnie łatwe bohaterstwo!

I na tem koniec. „Oto czyny moje" — woła Połaniecki, a my pytamy: jakie? Widzimy tylko, że komu szczęście dopisuje, kto robi pieniądze, ten nietylko znajduje względy u szarego tłumu, tarzającego się w prochu przed złotem i powodzeniem, ale i u znakomitych powieściopisarzy. Gdyby Połanieckiemu powinęła się noga w interesach, gdyby zbiedniał, potrzebował pomocy, odwracanoby się od niego, nie przebaczonoby mu ani wyzucia Pławickich z Krzemienia, ani stosunku z Maszkową; bogobojne damy roznosiłyby sławę jego „tyraństwa", ludzie „poważni" nazwaliby go waryatem, człowiekiem lekkomyślnym, drwiliby z jego perkalików i domu handlowego; taki Maszko, gdyby mu się powiodły operacye, spoglądałby na niego jak na głupca i niedołężnego aferzystę, wyższe sfery wskazywałyby na niego jako na odstraszający przykład, do czego doprowadzić może człowiek „dobrze urodzony", kiedy się „zapomni" i kala nazwisko kupczeniem, a nawet Marynia, ocierając łezki pokryjomu, straciłaby wiarę w wyższość Stacha i patrzyłaby na niego wzrokiem mówiącym: czemuś ty taki „niepraktyczny!"

Połaniecki stanowczo nie udał się Sienkiewiczowi. Może wprawdzie ktoś twierdzić, że on go chciał mieć takim, a nie innym, że Połaniecki, choć się nie podoba ze stanowiska etycznego, to jest przecie sam dla siebie typem skończonym — ale oba te twierdzenia nie mają rzeczywistej podstawy.

Naprzód Sienkiewicz nie chciał go mieć takim, a że takim został, to winno temu nic innego jak druk częściowy powieści w miarę posuwania się pracy autorskiej. Co się już raz wydrukowało, tego odwołać niepodobna, a tymczasem w czasie tworzenia nasuwają się autorowi nowe sytuacye, nowi ludzie, nowe zawikłania. Traci na tem zawsze przedewszystkiem konstrukcya powieści, co można udowodnić na wszystkich utworach w ten sposób pisanych, a bardzo często przeistaczają się typy i charaktery. Z pierwotnego szkicu zostają zaledwie kontury, jeżeli nawet zostają. O sposobie pisania „Rodziny Połanieckich" opowiadano nawet anegdoty. Mówiono, że np. autor telegrafował razu pewnego do „Biblioteki warszawskiej", prosząc o odpowiedź co się stało z Bukackim, bo mu gdzieś zaginął — i otrzymał również telegraficzne wyjaśnienie, że Bukackiego pozostawił w Rzymie. Za prawdziwość tego faktu nie ręczę, ale wydaje mi się bardzo prawdopodobnym. Wadliwość konstrukcyi „Rodziny Połanieckich" wykazałem powyżej, przeprowadziłem też szkicowo porównanie Płoszowskiego z Połanieckim, które samo już wykazuje, że Sienkiewicz miał zamiar postawić Połanieckiego jako kontrast zupełny Płoszowskiego. Ale są inne jeszcze dowody zupełnie wyraźne, że Sienkiewicz umiłował swego nowego bohatera, że chciał dać w nim typ człowieka z „dogmatem", posiadającego wprawdzie wady, słabostki, nieodłączne od natury ludzkiej, ale bądź co bądź dzielnego, mającego cel wytknięty w życiu i w gruncie rzeczy szlachetnego. Wiemy co on sam o sobie myśli i mówi, jak się nieustannie chwali, jak wciąż rezonuje na temat, że ro-

---

uogólnia fakt każden. Wiadomość moja nie chwyta pierwotnych i luźnych szczegółów, i nie zachowuje ich w tej postaci, lecz grupuje je natychmiast. Wreszcie wy dochodzicie do pewnych stałych przekonań i te wystarczają wam na życie, ja tego nie potrafię; ja się ustawicznie przetwarzam, wy zatrzymujecie się na pewnym stopniu i udoskonalacie tylko ostateczną przemianę.

LEON.

Przyznać pani musisz, że obowiązkiem każdego człowieka jest zdobyć sobie stałe zasady życiowe i postępować według nich; ujednostajnić swój sposób myślenia, działania, mówienia nawet... to ostatnie choćby dla uproszczenia życia.. Inaczej nie byłoby pracy systematycznej, więc i rozwoju, który ostatecznie jest sumą pracy codziennej, wytrwałej, podjętej w różnych kierunkach przez oddzielne jednostki.

WANDA.

Czyż przeczę temu?

LEON.

Jeżeli nie, powinnaś pani także dążyć do ustalenia i ujednostajnienia przekonań i życia.

WANDA.

Gdyby niewzruszoność zasad i poglądów leżała w zakresie woli, może, dla czego nie?...

LEON.

Wolą można dojść do wszystkiego.

WANDA.

Prócz do zatamowania ruchu mózgu i nerwów, prócz ustanowienia rozwoju, który intelektualnie jest ciągłym procesem krytycznym w łonie zdobytych pojęć.

LEON.

Bardzo pięknie; zyskuje na tem może pani dusza, lecz nie działalność, jako jednostki pożytecznej.

WANDA.

Przyjdzie może czas... (a może tak jest dzisiaj i było) gdy zbogacenie się moralne jednostki uważać będę za przyczynek do rozwoju społeczeństwa... (jak dawniej) nim byśmy rozstrzygnęli, o ile ja jestem pożyteczną: trzebaby się zgodzić co do samego pojęcia „pożyteczności". A nie pogodzimy się nigdy.

LEON.

Dla czego? Dwu zdań w tej mierze być nie może. Pożytecznym członkiem społeczeństwa jest ten, który pracuje dla ogólnego dobra.

WANDA.

Tak, tylko zakres „ogólnego dobra" jest nieskończony i ogarnia krainy, które ja wielbię, a któremi pan jak Wandal pomiatasz.

LEON.

Rozumiem; rzeczywiście, uważam, że dzisiaj tylko na gruncie praktycznej, natychmiastowej korzyści można i powinno się być pożytecznym. Sztuki piękne, myśl oderwana, to zbytek w naszych czasach. Nie łudź się pani; nie uważam cię wcale za jednostkę pożądaną, dla tego że komponujesz jakieś tam utwory muzyczne. Społeczeństwu z tego nic nie przyjdzie, co najwyżej będzie się chełpić, że pierwsze wydało kobietę obdarzoną rzeczywistym twórczym talentem muzycznym.

WANDA (*pytająco*).

A dla czego będzie się chełpić?

LEON.

Bo dotąd społeczeństwa są tak dzikie, jak kobiety, które lubią stroić się w świecidła, choć im brak sukni na grzbiecie. Wy, artyści i filozofowie, wyście świecidłami na ciele Łazarza. Macie z czego być dumni.

WANDA (*wzrusza ramionami*).

Społeczna doniosłość sztuki jest sprawą rozstrzygniętą. Na co ją roztrząsać?

LEON.

Co do muzyki, uważam ją za pożyteczną, o ile uspakaja waryatów, poza tem, do obłędu doprowadzić może zdrowych.

WANDA.

Ci „zdrowi" widocznie mają ukryte zarodki szału.

LEON.

Lub też muzyka jest trucizną, wydającą dobre skutki tylko w organizmach chorych.

WANDA (*z zapałem*).

Muzyka to potęga! Wielki bodziec siły i szlachetności! Najsilniejszy, bo nieuchwytny bodziec energii ukrytej!

bienie pieniędzy nie jest celem, że „nikt kto kończy się na *ski* albo *wicz*, nie potrafi w to włożyć całej duszy“. (I 51) itd. Cała zresztą jego rozmowa z Marynią na początku pierwszego tomu stawia go od razu w pewnem idealnem świetle. Ale to, jak on się sam sobie przedstawia, można złożyć na samochwalstwo — ważniejszem jest to, co inni o nim myślą. Naprzód zapewnia Sienkiewicz, że „spotykało go ogólne uznanie za to, że coś robił“ (I 86). „Połaniecki to tęgi człowiek“, mówi o nim spokojny, rozsądny i praktyczny Bigiel (I 224). „Co to za człowiek!“ wola z zapałem do Waskowskiego zacna Emilia (I 155) a niedługo później powtarza toż samo swej przyjaciółce w słowach: „Nie uwierzysz jaki to dobry, dzielny i szlachetny człowiek!“ Maszkowa mówi do niego: „Mama zawsze mówiła o panu jako o człowieku, któremu w każdym wypadku możnaby zaufać“ (III 165). Z całego zresztą zachowania się względem Połanieckiego wszystkich osób występujących w powieści, widać że go cenią i poważają, a najwyższy dowód chyba uznania oddaje mu sceptyk dekadent Bukacki, zapisując mu część majątku i oddając do jego rozporządzenia sumę krociową, jeżeli nie milionową, na cel publiczny — widocznie miał przekonanie, iż nikt podobnie jak on uczciwie i rozumnie nią nie rozporządzi. Kiedy Maszko, jako rywal Połanieckiego, chce go poniżyć w oczach Maryni, nie zdobywa się na nic więcej jak na frazesy: „charakter to jeszcze nie wyrobiony, inteligencya mniejsza niż energia, ale natura raczej dobra“ (I 188) — cóżby powiedział, gdyby chciał o nim sumiennie wyrzec swoją opinią?! Przypuśćmy jednak, że znajomi Połanieckiego cierpieli na daltonizm, że Sienkiewicz umyślnie chciał wykazać jak łatwo da się podejść i fabrykować opinia ludzka. Nie wierzmy więc samemu Połanieckiemu, ani jego znajomym - posłuchajmy raczej, co sam Sienkiewicz mówi o swoim bohaterze. Dowiadujemy się naprzód, że czuł on „niepohamowany wstręt do materyalizmu“ i że „miał pewną *tęgość duchową* i fizyczną“ (I 33). Kiedy bawił w Krzemieniu „podobał się Maryni ze swoją twarzą szczerą, męzką... pewną dzielnością w całej postaci“. Przywiózł przytem tyle tych tchnień, których jej w Krzemieniu brakło, jakieś nowe widnokręgi... (I 57).

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NEOROMANTYZM.

(Dokończenie.)

Ulubionym bohaterem Bret Harte'a jest szuler Oakhurst; występuje on w kilku nowelach, które zyskały sobie nazwę arcydzieł, a zawsze rola, jaką odgrywa, jest idealną. W jednej poświęca swą miłość, i to miłość odpłacaną wzajemnością, ażeby nie zranić przyjaciela, wydzierając mu kobietę ukochaną. W innej znów poświęca życie dla uratowania towarzyszów niedoli, zasypanych śniegiem na stepie i zabija się, ażeby zbyt szczupłe zapasy żywności pozwoliły doczekać pomocy istotom szczęśliwszym, pożyteczniejszym, mającym większą wartość moralną.

Poświęca się więc, a czyni to spokojnie, bez próżnych słów, jakby rzecz najzwyczajniejszą. On także oddaje sobie sprawiedliwość, jest czem jest, autor wcale go uniewinniać nie myśli. Znany ze swych sprawek szuler wyrzucany jest z miasta do miasta zapewne słusznie, nikt przynajmniej o tej słuszności nie powątpiewa, nawet sam Oakhurst nie protestuje przeciw podobnym wyrokom. Ale ta ujemna strona jego życia nie przeszkadza mu mieć szlachetnych popędów a nawet ponieść dobrowolną śmierć z ich powodu.

W innym znów obrazku kobieta znana przez całe miasto z wesołego życia, ginie nagle z oczu licznym wielbicielom i zagrzebuje się gdzieś w pustkowiu, ażeby pielęgnować kochanka, dotkniętego paraliżem. Z biedaka bezwładnego, zidyociałego wyśmiewa się gawiedź, a ona tego znieść nie może. Wywozi go więc daleko i pielęgnuje w ustronnej chacie.

Obowiązki siostry miłosierdzia przyjęła dobrowolnie, tknięta niedolą człowieka, który ją kochał i spełnia je wesoło, ochotnie, idąc za poszeptem serca, nie domyślając się wcale wartości swego czynu.

Na podobne poświęcenia według Bret Hartea nie zdobyłby się nikt z ludzi istniejących w regularnych warunkach, żaden z tych poważnych filistrów, których postępowanie ani o krok nie wybiega poza powszednią normę, którzy są dzierżycielami urzędowej cnoty, urzędowego miłosierdzia, urzędowych uczuć. Szlachetne porywy serca są udziałem wykolejonych, a wykolejeni są oni właśnie dla tego, że nie mogli się do przeciętnej normy dostroić, tem samem więc stanęli w kolizyi ze społeczeństwem, które poza nią nie pojmuje nic więcej.

Jeśli amerykański nowelista porównywa pomiędzy sobą dwóch ludzi, zawsze odda pierwszeństwo temu, co się znajduje w nieregularnem położeniu, ten zawsze będzie w gruncie lepszym, wyższym, szlachetniejszym, przymioty według niego stanowią przeszkody do zajęcia jakiegokolwiek miejsca w hierarchii społecznej, bo w niej od góry do dołu są tylko ludzie bez istotnej wartości.

Pogląd ten wypowiedziany jest wyraźnie w „Odnalezionym synu“. Zbogacony handlarz — bez rodziny — przypomina sobie, iż przed wielu laty zginął mu syn, który dziś byłby już człowiekiem. Dawniej, wśród ciągłej pracy i zabiegów, niewiele myślał o tej stracie. Teraz jednak budzi się w nim gwałtowna żądza odnalezienia dziecka, któremu dać może dostatek i szczęście, a które w zamian będzie pociechą jego starości. Robi więc poszukiwania i te zostają uwieńczone skutkiem. Syn miły, dorodny, kochający zamieszkuje w jego domu i pełen wdzięczności, otacza ojca miłością.

Ażeby uczcić powrót dziecka, ojciec sprasza znajomych, chce wszystkich o swem szczęściu uwiadomić. Nagle zjawia się jakiś obszarpany biedak i składa nieomylne dowody, że to on właśnie jest owym poszukiwanym synem. Więc ten pierwszy, co zyskał sobie serce ojca, jest tylko samozwańcem, który nadużył zaufania i dopuścił się niegodnego podstępu. Ojciec wypowiada mu to w oburzeniu, wskazując zarazem drzwi domu, co rozwarł się przed nim gościnnie i widział w nim swego pana.

Samozwaniec milczy, schyla głowę przed słusznym wyrokiem i oddala się pokornie, bez słowa tłomaczenia się lub prośby, rzuca tylko odchodząc na starca, który był mu ojcem, spojrzenie pełne żalu i miłości.

Prawdziwy syn tymczasem wykazuje od razu swą grubą naturę, upija się, robi burdy, lekceważy ojca, napełnia dom wrzaskiem i wyziewami alkoholu. Jakże innym był ten pierwszy. Tego pierwszego brakuje ojcu coraz bardziej, w miarę jak porównanie ujawnia różnice. Czemuż go wypędził? Czemuż okazał się względem niego twardym i okrutnym, zamiast zatrzymać tego syna, którego mu niebo zesłało. Pokochał go już, czuje to po niewczasie, gdy tymczasem syn prawdziwy budzi w nim wstręt tylko. Utkwiło mu w sercu smutne, przeciągłe spojrzenie, jakie mu rzucił odchodzący i żal jego się wzmaga. Chce go przywołać znowu, każe szukać. Opamiętał się tak szybko, iż zbieg nie może być daleko. Daremnie. Ten syn mniemany przepadł jak kamień w wodzie. Starzec nie zobaczył go nigdy więcej, a opłakiwał do zgonu.

Dla czegoż ten właśnie, co był oszustem,

LEON (*szyderczo*).

Jakże może być silnem to, co nieuchwytne?

WANDA.

Jakże może spojrzenie więcej powiedzieć, więcej, w suggestyi n. p. zdziałać od słów? Jakże może prosty okrzyk bólu więcej nas wzruszyć od frazeologii? Jakim sposobem elektryzuje nas burza, szum wichru niepokoi?...

LEON.

Zdolność pobudzania nerwowego nie pociąga za sobą własności skierowania energii w sposób określony.

WANDA.

Zapewne, lecz ogólny charakter muzyki oddziaływa na nas w pewien ogólny sposób. Jeżeliby przytem znalazła się okoliczność, odpowiednia uczuciom, które wzbudza, pobudziłoby nas silniej, niż cokolwiek do odpowiedniego, natężonego działania.

LEON.

Lecz na co to marnowanie siły przez wyzwolywanie energii, gdy ta niepotrzebna?

WANDA.

Danie ludziom świadomości ukrytej w nich siły nie jest jej marnotrawieniem. Muzyka, ten wymowny i jedyny może całkowity język duszy, jest wielką uświadomicielką utajonej w niej potęgi.

LEON.

Albo wielkim twórcom złudzenie siły.

WANDA.

Jeżeli złudzenie ma moc czynną dla czego pozbawiać go racyi bytu?... Można zarówno powiedzieć, że wszystko jest złudzeniem, jak że każde złudzenie jest prawdą.

LEON.

Nie będę się wdawał w kwestye metafizyczne... czy psychologiczne. Muzyka, to środek podniecający... rodzaj hasyszu... rzecz niezdrowa. Ja nie odbieram pod jej wpływem uczuć, o których mówiła pani.

WANDA.

Więc jako?

LEON.

Co to za mania, ta żądza świadomości wrażeń, wzbudzanych przez panią w innych.

WANDA.

Mowiliśmy w ogóle o muzyce.

LEON.

Lecz na co pani wiedzieć? Jak ty nie chcę odkrywać swych słabych stron. Powinnaś pani wiedzieć, że nie powinno się żądać od drugich tego, czego się im nie daje.

WANDA (*spokojnie*).

Nie żądam. Nie mamy nigdy prawa wymagać nic od ludzi poza elementarnemi prawami ludzkości... Lecz istnieje swoboda pytania, jak swoboda nie dania odpowiedzi,

LEON.

A czy wolno dać fałszywą?

WANDA.

Jeżeli nasza organizacya znosi wygodę kłamstwa, lub jeżeli ona jest zbyciem płaskiej aroganckiej ciekawości ludzi.

LEON.

A jak nazwiesz swoją?

WANDA.

W przeciwstawieniu do pierwszej bezinteresowną, przedmiotową, quasi naukową.

LEON (*z ironią*).

Czy z pewnością bezinteresowna?

WANDA.

Ma się rozumieć; plotki i intryga są mi nieznane.

LEON.

Nie o nich myślałem... Lecz, jeżeli jest quasi naukową, musi tem samem być interesowaną, mając na celu doświadczenie.

WANDA.

Poznanie danej jednostki.

LEON.

Za pomocą dokonywanych na niej doświadczeń i w jakim celu to poznanie?

WANDA.

Jakto, za pomocą doświadczeń?

LEON (*szorstko*).

No, tak; grasz pani, by widzieć wpływ swej gry na tych, których chcesz poznać.

WANDA (*otwiera szeroko oczy*).

Ja?

co się podszył pod cudze prawa, zasługiwał na miłość ojcowską? Fakty podobne zdarzają się w życiu, które nieraz zdaje się drwić z ludzi i ich uczuć, ale u Bret Harte'a powtarzają się one tak uparcie, iż musimy w nich dostrzedz cel wyraźny. Według autora, najlepsze istoty nie mogą się dostroić do kamertonu świata, który poniewiera szlachetnych, samoistnych, a tylko podłych łaskami obsypuje, dla tego to najlepsi nie są z nim w porządku. Odbywa się tu rodzaj przewrotnego doboru naturalnego, biada na świecie tkliwym, impulsywnym, tym co mają serce. Oni to upadają, oni schodzą na manowce, których doskonale uniknąć umieją, wyrachowani, choć w gruncie stokroć gorsi oni są, umieją być w zgodzie z kodeksem i społeczeństwem.

Zapatrywania te nowemi nie są. Na początku naszego wieku były one treścią poezyi Byrona. Streścił on je nawet dobitnie w kilku wierszach Korsarza, który sam rzucony w rozbójnicze życie „rozumiał, że nikt nie lepszy, choć nim zdać się umiał, i gardził dobrym, jak tym co w obawie, czyni to skrycie, co inny na jawie“.

Nie w jednej Anglii i Ameryce spotykamy się z rehabilitacyą ludzi potępionych przez społeczeństwo. Literatura skandynawska daję pełno podobnych przykładów. W wielu sztukach Ibsena postacie pochodzące z mętów społecznych mają daleko większą wartość niż te, co używają dobrej sławy i znaczenia. Takim jest w Hedzie Gabler, genialny i nieszczęśliwy Löwborg, doprowadzony przez złą kobietę do rozpaczy i samobójstwa. Stoi on pod względem umysłowym daleko wyżej od Tesmana, a moralnie od radzcy Bracka jednak on ginie, oni pozostają.

W Rosmersholmie występuje także w jednej scenie dawny nauczyciel bohatera, dziś przybłęda bez dachu i chleba. Nędzarz ten jednak wzbudza podziw w Rosmerze, bo jak mówi, ma odwagę być sobą. Ludzie za to mający szacunek powszechny, podpory społeczne jak n. p. pastor Manders w Widmach są przedstawicielami fałszywych idei, fałszywej moralności i tego wstrętnego konwencyonalizmu, który krępuje indywidualizm, wstaje na wspak wszelkim szczerym porywom i w skutkach okazuje się fatalnym.

W „Truciźnie“ Kiellanda cicha walka wre pomiędzy zgodnem z pozoru stadłem. Mąż karyerowicz hołduje filisterskiej etyce, żona szuka prawdy tylko. Życie uwydatnia różnice i zaostrza walkę, a toczy się ona o duszę dziecka. Ojciec chce w nie wpoić korzystną mądrość świata, matka chce je urobić według swojej wiary. Walka kończy się dla niej fatalnie. Złamana i zawiedziona szuka ucieczki w truciznie.

W Redaktorze Lyngel Hamsuna jedyną istotą mającą jakąkolwiek wartość jest fałszerz Haibro, który jednak sam poczuwając się do winy, oddaje się w ręce sprawiedliwości. Myśl więc przewodnia całej szkoły chociaż występuje mniej jaskrawo niż w Bret Harte'a, nie różni się z nim w gruncie. Wyższość jest zawsze udziałem tych, którzy z jakichkolwiek względów nie są w porządku ze światem. Stosunki życiowe jego są smutne. Realizm nie przedstawia ich także w dodatnim świetle. Przeciwnie, wielcy jego mistrze nie szczędzą barw ciemnych. Dość wspomnieć Flauberta lub Zolę. Ludzie są według nich zepsuci, podstępni, gotowi spełnić każdą podłość, skłonność do zbrodni leży w ich naturze i odzywa się przy każdej sposobności.

Romantyzm nie goni już dziś za nadzwyczajnością. Od realizmu różni się tem głównie, że malując złe ogólne, stawia obok niego szlachetne wyjątki, ale tych szlachetnych nie znajduje pomiędzy zwycięzcami, ale zwyciężonymi.

Jest w tem niezawodnie wiele prawdy, jakkolwiek myliłby się bardzo ten, coby zbyt skwapliwie poszukiwał klejnotów w śmietniskach. Klejnoty są zawsze rzadkością.

Kilka przykładów z najświeższych utworów literackich starczy do wykazania żywotności idei odpowiadających pewnym stronom naszego ducha. Przetrwały one wrogie sobie prądy i dziś odzywają się z nową siłą.

Parę dziesiątków lat temu nie było dość szyderstw na scharakteryzowanie szaleństw niemieckiego romantyzmu, a oto dziś la Motte Fouqué, Immermann, Grabbe itp. zostali prześcignięci przez Maeterlincków, Huysmans'ów, Peladanów, Villier de l'Isle Adam i całą szkołę mistyków, teozofów, okultystów, palladystów, satanistów, którzy wkroczyli do literatury, zawładnęli beletrystyką i urozmaicają intrygę sprawami czarodziejskiemi. Magnetyzm, hypnotyzm, suggestya stały się dziś w powieści przynajmniej chlebem powszednim. Czarodzieje za pomocą szatańskiej siły nasyłają nieprzyjaciołom choroby, przeciw którym bezsilną jest sztuka lekarska, bo zwalczyć je tylko można odpowiedniemi praktykami, dokonanemi przez równie potężnych egzorystów. Jak za dobrych dawnych czasów odbywają się piekielne tajemnice sabatów, kapłani bluźnierczy odprawiają czarne msze (La-bas Huysmans'a). Śmierć występuje jako istota realna. Za jej zbliżeniem milknie wesoły świegot ptaków, ćmią się światła; słyszeć można jej kroki i dźwięk złowrogiej kosy. (Intruz Maeterlinck'a.)

Słowa i czyny mają tajemnicze znaczenie, a to niezależnie od tego, jakie jest ogólnie do nich przywiązane. Pewne dźwięki mają moc przyciągania otaczających nas niewidzialnych istot za pomocą pewnych ruchów i znaków można im rozkazywać i tej to właśnie potęgi nabywać mają teozofi w klasztornych uczelniach ukrytych w głębi Indyi.

W tych dziwacznych kierunkach odzywają się średnie wieki z całym swym orszakiem czarów, widm i przerażeń. Nie jesteśmy panami ani naszych czynów, ani myśli, ani woli. Znajdujemy się ciągle wśród niewidzialnych istot, które mogą być nam wrogie lub przyjazne i te wywierają na nas wpływ nieustanny. One to są po większej części według mistyków powodem melancholii, zboczeń umysłowych, szałów, one to czychają na chwile upadku i zwątpień i opętanym przez siebie, nasuwają myśl samobójstwa wkładają w rękę mordercze narzędzie.

W Paryżu nawet, w tej stolicy racyonalizmu, odbywają się w tajemniczych świątyniach obrzędy pełne dziwactwa i pozy. Niepodobna tych wszystkich objawów składać jedynie na wyczerpanie, mające jakoby towarzyszyć końcowi wieku. Wieki nie kończą się i nie zaczynają, a raczej kończą i zaczynają w każdej chwili, inaczej musielibyśmy przyjąć wierzenia symbolistów i jak oni przypisywać ukryte znaczenie liczbom i wyrazom.

Wszystkie te fakty świadczą jednak, że kierunki w literaturze, które odpowiadają pewnym stronom naszego ducha, nie mogą być z niej wyrugowane. Jeśli spotykamy w niej skrajną niewiarę, spotykamy także mistyczne wierzenia. Jeśli istnieje ubóstwienie siły i przyznanie konieczności spełnionych faktów, musi istnieć także cześć dla niewcielonych idei, współczucie dla nieszczęśliwych i gorące pragnienie sprawiedliwości. Są to bowiem pojęcia wyrobione wiekową cywilizacyą, oraz wzniosłych marzeń starożytności, które najwyższy swój wyraz znalazły w Chrystyanizmie, chociaż pomimo wody chrztu, zlewanej na tyle idących po sobie pokoleń dotąd nie weszły w życie i zostały w stosunkach społecznych martwą literą.

Koleją oddalamy się i wracamy w literaturze do tych ideałów, probujemy daremnie wytworzyć sobie inne i przekonywamy się, że bankructwo humanitarnych kierunków w piśmiennictwie idzie w parze z ich bankructwem w życiu i z barbarzyńskiemi pojęciami, które sformułowane zostały dobitnie w wyrażeniu: „Siła przed prawem“. Bo jedno z dwojga, albo przyznać musimy, że nie wszystko co się stało

---

LEON (*nagląco*).

Więc dla czego ich chcesz poznawać?

WANDA.

Jakto, dla czego?

LEON (*szorstko*).

Naturalnie. Wszystko powinno się robić i robi z celem. Jakiż jest cel pani ciekawości.

WANDA.

Poznanie.

LEON.

I nic nadto?

WANDA.

Cóż więcej być może?

LEON.

Działanie, chęć praktycznego zużycia swej wiedzy. Może myślisz, że nie wiem, że pragniesz, że masz ambicyę panowania nad cudzemi duszami za pomocą fortepianu grania na nich jak na fortepianie.

WANDA (*z uśmiechem*).

Dowiaduję się o tem teraz dopiero, lecz jednocześnie zrozumiałam coś więcej, źródło pana niechęci do mnie.

LEON.

Jak pani doskonale udawać umiesz! Więc nie wiesz, że grając, trzymasz na uwięzi dobrze słuchających. Może nie dla tego grasz?... Może świadomość tej potęgi nie sprawia ci rozkoszy?... nie jest przyczyną twej dumy?... Ależ sam instynkt tworzenia jest instynktem panowania.

WANDA (*z głębi myśli*).

Albo koniecznością oddania się światu.

LEON.

Pani oddaje się!

WANDA (*z gorzkim zapałem*).

Tak, ja wam, światu! Całą duszę w grze! Niewiadomo na co.

LEON.

Rzeczywiście. Na co nam się zda ta dusza rozhukana i niepojęta.

WANDA.

Prawda.

LEON (*rozdrażniony*).

Więc celem twego życia oddanie swej duszy?

WANDA.

Celem? nie... Koniecznością często bolesną i dręczącą.

LEON.

Więc cóż jest pani celem? Żyjesz, czujesz, by tworzyć.

WANDA.

Nie: tworzę, bo żyję i czuję.

LEON.

Gonisz za wrażeniami, by drgania twe pod ich wpływem przelać w dźwięki.

WANDA.

Pod wpływem wrażeń, wstrząśnień i myśli, któremi mnie nieustannie obrzuca życie, drgam, i te drgania wcielam w tony, bo są zbyt silne i zbyt spragnione dalszego ruchu i przemiany, by mi się w duszy zostały.

LEON.

Grasz ludziom, bo wiesz, że ich porywasz, zachwycasz, że pod wpływem twego talentu klęknąć przed tobą gotowi, jak przed bóstwem.

WANDA.

Gram ludziom, bo pragnę czuć nie sama, bo odczuwam, nieodpowiednio do czasów, w których żyję, głęboką spójnię i jedność międzyludzką, bo chcę, by ich porwało moje wzruszenie, bo mam przytem konieczne złudzenie wszystkich twórców, że zostanę odczutą.

LEON.

Chcesz, by cię odczuwano, by *twoja* dusza poruszała drugich dusze, by być panem ich uczuć i woli.

WANDA.

Pragnę być odczutą, by dla *tego*, co mną wstrząsnęło, co mnie porwało, zyskać współwyznawców, by czuli i pragnęli *tego*, co czuję pragnę, i w imieniu *tego*, co mnie porusza, bo to jest prawda i dobro.

(Ciąg dalszy nastąpi).

jest dobrem i koniecznem, albo też wyprzeć się szlachetnych aspiracyi, uznać, że na świecie użycie jest wszystkiem i prześcigać się w pogłości dla zdobycia środkowego użycia.

Patrząc więc krytycznie na najświeższy zwrot w literaturze, dostrzeżemy łatwo, że wywołany został reakcyą przeciwko apoteozowaniu faktów spełnionych. Reakcya równa się akcyi, nadużycie staje się powodem nadużyć i w tem leży jego największa szkodliwość, to co Göthe nazwał „Der Fluch der bösen That“. Niepodobna zgodzić się na krańcowo mistyczne doktryny, ale uznać musimy racyą bytu tego nowego wykwitu romantyzmu, objawiającego się mniej więcej wyraźnie we wszystkich literaturach. Jest to protest pierwiastków skazanych niesłusznie na milczenie, a dobijających się miejsca pod słońcem, które witać musimy z tem większem uznaniem, że stają do walki z powrotnemi falami barbarzyństwa usiłującemi zawładnąć światem.

Walerya Marrené Morżkowska.

Głodna sztuka.

Zmierzchło. W pracowni mojej siedzę sam, patrząc na rozłożony zeszyt „Moderne Kunst“. Na pierwszej stronnicy tego wspaniałego pisma widzę rysunek Fałata, a poniżej tytuł artykułu: „Polnische Kunst“, napisany przez dzielnego malarza Fritza Stahla. Artykuł ten poczyna się od wiersza: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Serdecznie i z prawdziwą przyjaźnią pisana rzecz o sztuce i artystach naszych, mimowoli łza zrosiła mi oczy, duszę wezbrała uczuciem dumy, ale serce ścisnęło uczuciem żalu za całym szeregiem bojowników, którzy zrodzeni na ziemi krwi i zgliszcza, nie mieczem, ale pracą ducha dążą do utrzymania wiary w słowa: „Jeszcze Polska nie zginęła!“... Przed oczyma moimi przesuwa się cały szereg tych ludzi. Nie sieją oni ani orzą, nie robią maszyn ani hodują stad. Uzbrojeni w siłę woli i uczuć szlachetnych, rozpoczęli oni bój wielki z całą Europą, ze światem całym, za broń wybrawszy sobie sztukę. I tą bronią wywalczyli oni całemu narodowi swemu pamięć i szacunek i podziw. Wywalczyli — ale bez pomocy narodu. Naród bowiem, względnie jego szlachetniejsza część, nie poczuwa się do obowiązków dawania pomocy tym bojownikom, a biorąc od nich wszystko, pozwala walczyć i ginąć... Tyle imion!... Cały tłum tłoczy mi się przed oczy... jedni z suchotniczemi wypiekami na policzkach, inni obdarci pną się bosemi nogami po różach i krwawią ciało kolcami nędzy!... Inni znowu błąkanym wzrokiem wodzą naokoło i patrzą na mnie tak przykro i boleśnie!... głowy mają wieńczone laurem, w dłoniach ściśniętych dyplomy i złote medale... Zdala za tymi stoi mała garstka dobrze odzianych i odżywionych postaci, obojętnie patrzących na odartych i szalonych... w jednej ręce trzymają kartki z imionami mecenasów i kunsthändlerów, z drugiej worki dobrobytu... Oprzytomniałem, a wzrok mój padł znowu na słowa artykułu: „Es giebt eine polnische Kunst!... Otóż to jest wielkie pytanie! Ci artyści, którzy mieszkają w Monachium, są znani Niemcom, ci w Paryżu Francyi, ale bardzo niewielu z tych, co mieszkają w kraju, dla niego na miejscu pracując. Sztuka polska, czy polscy artyści? co istnieje? Na temat ten prowadzićby można szeroką polemikę, której wynik byłby może rozbudzeniem w szerszej masie naszej publiczności poczucia do obrony naszej sztuki i do dania jej skutecznej pomocy. Sztuka sama, jako taka, nie może być popierana przez miliony członków narodu — te miliony jednak powinny stworzyć tysiące jednostek zamiłowanych w niej i popierających ją wszystkiemi siłami. Wtenczas dopiero sztuka ta stanie się narodową, a w różnych swoich odmianach mówić będzie do całej masy bądź to jako poezya, jako muzyka, malarstwo, rzeźba lub architektura. Sztuka ta uszlachetniać będzie formy i kształty, jakiemi surowo i bezwzględnie przemawia do nas życie. Sztuka ta da nam szereg prawdziwych artystów i geniuszów, którzy dziełami swojemi znaczyć będą istnienie nasze, a masom narodu, jako lekarz kość będą rany wiekiem niewoli zadane!... Wątpisz o tem? Przeczytaj z „Przedświtu“ mały ustęp, a poruszy on w tobie całą skalę uczuć, zajrzy ci na dno duszy i wywoła na wierzch echo wspomnień, które ci powiedzą kim jesteś!...

Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżyca
Jak trupiego widmo lica:
I gwiazd niema tylko ona
W środku niebios, niewzruszona!
W jej promieniach przestwór cały
Zniecestwiony, skamieniały.
Kędy spojrzeć, na wsze strony
Zaś y, śniegi, lody, szrony.
Strach jak biało, pusto, marno!
Groby tylko z głazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte,
Śród tej bieli stoją czarno!

Jeśli ci tego wiersza za mało, idź popatrz na „Rejtana“, na „Unią“ Matejki, posłuchaj żałobnego marsza Chopina, a te różne na pozór dzieła sztuki przeniosą cię w taki świat cierpień, że własny twój ból ukoją!... Rozpacz ustąpi i miejsce jej zajmie spokojne dażenie samopociechy duszy i serca. Sztuka bowiem działa niezrównaną potęgą i siłą, gdyż jest wyrazem największej umiejętności człowieka, którego właśnie dla jego niezwykłego talentu i władzy tworzenia zowiemy artystą. Zapewne, że słowo artysta jest zaszczytem, w którego nadawaniu publiczność, a szczególniej prasa powinnaby się więcej niż dotychczas ograniczyć, ponieważ wielu jest powołanych, ale bardzo mało wybranych.

Takimi wybranymi dla autora artykułu „Polnische Kunst“ są artyści polscy, którzy obok niego pracują i na dostępnych mu wystawach wystawiają. Takimi wybranymi są dla sprawozdawców monachijskich i paryzkich ci, którzy dla nich są dostępni. Wszystkim tym sprawozdawcom należy się bezsprzecznie wdzięczność i uznanie tem większe, że o większości polskich artystów stale za granicą mieszkających dowiadujemy się u nas w kraju z ich artykułów, albo przy sposobności wielkich wystaw okolicznościowych, na których rozdają się dyplomy i medale złote. W latach zwykłych, na zwykłych „Salonach“ Warszawy i Krakowa lub Lwowa, nie widzimy nic takiego, coby nas utwierdzało w przekonaniu o wielkości polskich artystów i istnieniu polskiej sztuki. Na zwykłe dni pracować muszą artyści zawsze mieszkający w kraju, w otoczeniu mniej jak biednem — wśród walki o codzienną strawę, nie dziw więc, że i plon ich jest średni, chociaż większym nakładem siły moralnej produkowany.

Artyści polscy mieszkający w Monachium lub Paryżu albo Rzymie, wykształcenie swoje i sławę zawdzięczają zagranicy. Tam się zaaklimatyzowali, tam czują się w domu i znajdują materyalne zapewnienie bytu. Czasami, tylko czasami zawita jakaś z ich prac do krajowego „Salonu“ i to zwykle praca słabsza od innych, które wprost ze sztalugi poszły w ręce Kunsthändlerów lub na obce „Salony“ światowe, aby z nich już do artysty, a tem mniej do kraju nie powrócić. Muzea są u nas nieznane. Jedyne „narodowe“ w Krakowie posiada większość obrazów z początkowego okresu sztuki polskiej, a mniejszość ich z lat ostatnich nie dowodzi wcale istnienia jej wielkości. Owa szkoła czy nawet „Akademia“ Sztuk pięknych w Krakowie wykazała się szczególniej w ostatnich latach nietylko nie dodatnią działalnością, ale wprost zgubnym wynikiem w mnożeniu proletaryatu polskich artystów, ponieważ nie daje ani nauki przygotowawczej, z którejby powstali dzielni pracownicy ani polu sztuki artystycznego przemysłu, ani nauki skończonej dla samodzielnie tworzących artystów. Jest ona jakby konieczną potrzebą istnienia dla pewnych tylko jednostek, którym trzeba dać utrzymanie i to utrzymanie pokryć jakowąś pracą oddawaną społeczeństwu. A wątpię, czy jest taka praca, którąby gorsze wyniki dawała, jak praca szkoły

SVEN LANGE.

ENGELKE.

Tłomaczyła **Marya L.**

(Dokończenie.)

— Niezupełnie... przypomina sobie pan chyba. Ale mniejsza o to, ważniejszem było to, że oskarżenie swe tak czelnie, tak śmiało wypowiedziałeś... przyznaj się pan, wszak nic wówczas pewnego o Nörgaardzie nie wiedziałeś? Nie zaprzeczaj pan; miałem zupełnie to wrażenie i dla tego tak ostro zaraz pana zapytałem. W wielu dziedzinach jestem może idyotą skończonym, lecz doskonale potrafię zrozumieć to, co ludzie mówią, lub też powiedzieć zamierzają. Nie, kochany panie, musisz w tem przyznać mi słuszność: gdybyś był wtedy nie maczał swych palców w tej sprawie, zupełnie inaczej stałyby teraz rzeczy. Niesłusznie cierpiacą ofiarą zatem nie jesteś; im zaś tragiczniej sprawa się panu przedstawia, tem większą sobie samemu przypisać musisz winę. Starałem się, o ile to w mej było mocy, zmniejszyć tragizm tej sprawy za pomocą mych optymistycznych uwag, a tem samem i winę twą zmniejszyć, lecz jak zwykle, tylko niewdzięczność otrzymałem w nagrodę...

— W końcu doszliśmy do tego — rzekł teraz Bergström drwiąco — że tylko pan jeden z pośród nas jesteś niewinnym męczennikiem.

Pauli nie odpowiedział zaraz.

— Rezygnacya także może być męczeństwem! — rzekł po chwili. Po małej zaś przerwie zaczął znowu. — Ponieważ pan teraz sam niejako do winy się przyznałeś, chętnie uznam w nagrodę, że jesteś do pewnego stopnia usprawiedliwiony. Powiem panu rzecz jedną, chociaż nie wmawiam sobie, jakoby niezwykle głęboką zawierała prawdę... otóż, pana zaliczam do natur, którym — że tak powiem — przeznaczonym już jest los, jaki pana spotkał, jeśli wogóle to zdarzenie poważnie losem nazywać się godzi. Nie wiem właściwie, dla czego opatrzność to tak urządziła, lecz faktem jest, że najmędrsi ludzie największe popełniają głupstwa. Zapewnie jest w tem cel pewien ukryty, chociaż ja go dostrzedz nie mogłem... nawet dość dużo nad kwestyą tą się zastanawiałem, mam nawet do pewnego stopnia jej wyjaśnienie, raczej odkryłem drogę, która jak sądzę, do wyjaśnienia prowadzi. Zechce pan posłuchać? Otóż, zdaniem mojem rozwój świadomości każdego człowieka podobnym jest do krystalizacyi, która to czynność powoli w miarę tworzenia się czyli osiadania kryształów i płyn sam ostudza; a wiadomo panu, że im szybciej to ochładzanie następuje, tem liczniejsze i więcej różnorodne tworzą się kryształki. U niewielu ludzi, widzi pan, krystalizuje się świadomość szybko i rozmaite przybiera formy: już to gwiazdy, harfy lub też miecza, dzwonu i wielu, wielu innych rzeczy! Tam jest ciągły niepokój, ruch, ciągła zmiana... a bez związku wewnętrznego. U innych zaś ludzi, rozwój ten, czyli owa krystalizacya, bez porównania dłużej się odbywa: tu kryształek jeden z drugim powoli się łączy, bez nagłych zmian, aż urasta do jednej figury jednolitej, o silnych, trwałych podstawach, o kształtach raczej instynktownych: często tworzą one krzyż... czasem serce... a nawet i bicz może się utworzyć... Zawsze jednak ta jedna figura jest jednolitą zupełnie, nie zna niepokojów, nie zna zmian żadnych: ta jedna forma całą zupełnie świadomość. Rozumie się, że istnieją różne stopnie świadomości, prawidło jednak zawsze stosować się będzie: im liczniejsze formy, tem luźniej z sobą powiązane, im zaś ich mniej, tem są ściślejsze i więcej jednolite... Widzi pan, jak głębokie miewam pomysły? Bez żartów, czy nie sądzi pan, że jest w tem coś prawdy?

— Lecz ta głęboka myśl pańska wcale kwestyi nie objaśnia — rzekł Bergström —

sztuk pięknych w Krakowie. Nie stworzyła ona sztuki polskiej i o stworzeniu jej wcale nie myślała, mając to na celu jedynie, by utrzymać konserwatywny charakter kierunku tej sztuki bez względu na postęp, jaki się znaczył naokoło w całej Europie. Zamiast artystów, wydała całe szeregi biedaków, którzy nie mając dość talentu, aby wybić się na wierzch, nie mając dość pieniędzy, aby wyjechać za granicę, pozostali przez czas dłuższy w tej freblówce polskiego proletaryatu artystycznego — ginąc w niedostatku bez jakiegokolwiek pożytku dla społeczeństwa, dla siebie samych, a tem mniej dla sztuki polskiej. I nie pomoże tu ani zmiana kierownika szkoły, nie pomoże jego sławne imię i jego własna ciężka praca. Potrzeba na to zmiany wszystkich bez wyjątku sił nauczycielskich, potrzeba zapewnionej dotacyi, wystarczającej na zaspokojenie potrzeb naukowych, potrzeba nowych ludzi z fanatyczną miłością do sztuki i z wiarą w jej przyszły rozwój. Potrzeba artystów, którzyby ciągle mieszkali w kraju i w nim pracując, wpływali na otoczenie całej masy narodu, aby z niego wydobyć owe jednostki, do jakich należy pielęgnowanie i rozwijanie narodowej sztuki. Czesi powołali wszystkich swoich większych artystów z Paryża, Monachium i Wiednia do Pragi, Czesi utrzymują swoją szkołę sztuk pięknych tylko za składkowe pieniądze, bez rządowej pomocy. I w szkole tej kształcą i wykształcili już sporą garść artystów oraz pracowników na polu artystyczno-przemysłowem, jakiego my jeszcze wcale nie posiadamy. Tylko w ten sposób szczery i prawdziwie miłujący wszystko, co swoje, dojść możemy do rezultatów w tworzeniu sztuki polskiej. Dzisiaj sztukę polską tworzą aparaty migawkowe, za pomocą których większość naszych zagranicznych artystów zbiera swojskie typy i łany, aby na podstawie ich malować „polskie motywy“ — tak zagranicą pokupne! Dzisiaj trudno mi jeszcze przyznać prawdziwości istnienia sztuki polskiej, choć wierzę święcie w jej przyszły byt — do dzisiaj my publiczności, a ona nas nie rozumie, więc trudny jeszcze kompromis. Tem trudniejszy zaiste, że dziennikarstwo polskie, zajęte sprawami polityki, nic, ale to zupełnie nic nie czyni w celu pouczenia narodu o istnieniu sztuki, o jej potrzebie i o jej pracownikach. Jeżeli zaś prasa warszawska, pozbawiona swobody politykowania, coś w tej mierze czyni — to wygląda to więcej na reklamę robioną pewnym wyjątkowym jednostkom artystycznym, ale nigdy na popieranie celów ogólnych sztuki. Chwalić się i pawi ogon rozkładać pysznie — bardzo lubimy. Kochamy wszystkich artystów, którzy nic od nas nie potrzebują — szkoły krakowskiej nie pozwolilibyśmy zwinąć nawet za cenę przychylnego nam ministra oświaty, tylko pomagać sztuce i artystom nie możemy... bośmy biednym krajem... głosimy.

I dla tego o wielkości sztuki polskiej dowiadywać się musimy z „Moderne Kunst“, której redakcyi wyrazy prawdziwego uznania złożyć się należy za te słowa serdecznej protekcyi, jaką otoczyła naszych artystów i naszą sztukę w dewizie: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

Roman Lewandowski.

Profile angielskie.

J o h n M o r l e y.

Nić sympatyi francuzko-angielskich silną jest, długą i trwałą. W zeszłym stuleciu sympatye te odegrały w dziejach rolę o wszechświatowej doniosłości i znaczeniu — i chociaż Edmund Burke nie chciał uznać W. Rewolucyi, to jednak głos ten pozostał bez echa w literaturze i nauce. Zobaczymy niżej, jak się odbywała ta wymiana „talentów“ angielskich na „literaturę“ francuzką: w jaki sposób Morley płacił za pośrednictwo zeszłowiecznych filarów francuzkich w sprawie zapoznawania Europy ze stosunkami angielskiemi. Zaznaczamy tylko teraz, że wpływ Taine'a wyraził się dość dobitnie w podtrzymywaniu starych tych dobrych tradycyi. Czytelnicy Bourgeta pamiętają dobrze owe piękne stronnice wspomnień oksfordzkich. Dziś raz jeszcze zaznaczyć nam przychodzi objaw tej najwyższej, bo literackiej i naukowej — a więc umysłowej przyjaźni. P. Augustyn Filon nie od wczoraj zaznajamia swych rodaków ze wszystkiem, co Anglia posiada znakomitego. I w swej niewielkiej „Historyi literatury angielskiej“ i w swych „Historykach angielskich“ złożył niemały kapitał i pracowitości użytecznej i zdolności krytycznych. Nie jest nazbyt głębokim ani też zbytnio namiętnym: jest prawdziwym stałym współpracownikiem „Przeglądu Dwu Światów“ — a więc człowiekiem szanującym się przedewszystkiem, przekonań „republikańskich“, wierzącym, słowem „correct“. Jest także płodnym: pisze lat dziesięć zaledwie, a już trzecią wydaje książkę. Zostanie z czasem członkiem Akademii.

Tom, który leży przed nami,*) zawiera monografie głównych bohaterów Izby Gmin. Raz po raz przed oczyma czytelnika przechodzą Lord Randolf Churchill wraz z demokracyą zachowawczą, to znowu Józef Chamberlain ze swym socyalizmem państwowym, to znowu staje przed nami potężny, acz cień już tylko, Parnell, to wreszcie John Morley.

Morley, zanim został mężem stanu, był krytykiem literackim i dziennikarzem. Jeżeli go zapytać, pod czyim rozwijał się wpływem, wskazuje na Stuarta Milla i Gladstone'a. Wiele zawdzięcza także pani Elliot. Urodził się w r. 1838; mając lat 20 został adwokatem: założył dziennik literacki; w r. 1867 Lewes oddał mu założony podówczas Fortnightly Review, z którego Morley uczynił to, czem jest dzisiaj. Wbrew autorytetowi Stuarta Milla przekładał Goethego nad Schillera, ubóstwiał Emersona, owego „jedynego reformatora, który nie podnieca“. Charakteryzując Turgot'a mówi o mózgu niektórych wyjątkowych osobistości, jako o podporządkowującym sobie inne organy: „Znamy temperament, wcześnie zjedzony przez namiętność poznania przy nieustannej działalności w owem zaraniu życia umysłowego, które nie jest jeszcze przyćmione wulgarnemi potrzebami bytu, ani zamglone słabością myśli“. W innem znowu miejscu sam znakomicie charakteryzuje, do jakiego rodzaju umysłów należy: „Nam potrzeba światła, nie żaru“. Dwa były wielkie prądy — największe w życiu Anglii XIX w. — które nie pozostały bez wpływu na tworzenie się światopoglądu Morleya: ewolucyonizm i carlyle'izm. Ewolucyonizm — to tryumf wiedzy nad tradycyą i Kościołem, to znaczy także bezlitośna walka o byt, to znaczy również w interpretacyi City londyńskiej zwycięstwo sytego nad głodnym. Nigdy Anglia nie była tak bogatą. Precz z dogmatem — religijnym, czy moralnym, precz z wojną! Należało żyć szczęśliwym i patrzyć swych „business“. Carlyle'izm*) — to inna potęga moralna, która w życiu angielskiem wpływ wywarła poprostu magiczny i rzuciła daleko poza kanał La Manche fale jego... Morley przeszedł ogień i wodę jednego i drugiego. Przeszedł — nie znaczy to żeby stanął. Materyalizmowi angielskiemu przeciwstawił wrodzoną melancholią i wiarę w poprawę ludzkiej natury. Rzucił także „mędrca z Chelsea“ ponieważ ten nie wiedzie nigdzie, a Morley miał przed sobą dwa wielkie, tytaniczne cele: prawdę i wolność.

Prace literackie Morley'a za przedmiot swój mają ludzi i czasy W. Rewolucyi: jeden tom poświęcił Wolterowi i encyklopedystom, dwa zabrał Russeau, trzy wreszcie obejmują Turgot'a, rewolucyę, jej koryfeuszów i przeciwników. Czem jest Wolter? Przedewszystkiem nie jest sceptykiem, albowiem „nie było we Francyi nigdy prawdziwego sceptyka do Renana“. Wyobraża sobą pragnienie wiedzy, poznania

*) Profils anglais. Paris.

*) Por. monografię prof. Okolskiego, którą polecamy uwadze naszych czytelników (Lwów 1894).

---

pozostaje bowiem pytanie: D l a c z e g o właśnie owa krystalizacya w ten sposób się odbywa?

— No tak, dla czego?, dla czego, zapytaj pan o to Pana Boga chyba! Nie badajmy jednak tak daleko, gdyż w takim razie nigdy do żadnych nie dojdziemy rezultatów. Wieczne pytania „dla czego?“ — ty tylko dowody niemowlęctwa ducha ludzkiego; mój Boże, czyż jest powód obalać wszystko, dla tego, że natura nie dała nam możności pojmowania wszystkiego, że je w pewnych zamknięto granicach... Lecz odbiegłem daleko od tego, co powiedzieć zamierzałem; powtarzam raz jeszcze: jest pan do pewnego stopnia usprawiedliwionym; świadomość pańska należy bowiem do tych, które szybko i wiele wydzielają kryształów... lecz bez wewnętrznego związku!... Przyznam, że oprócz tego nie miałeś jakoś szczęścia, a także, ze surowiej ukaranym zostałeś, niż na to zasłużyłeś... Lecz... porzuć pan wszelkie narzekania; będąc na pańskiem miejscu, nie zazdrościłbym rywalowi twemu bynajmniej! Pomyśl pan tylko, jakiej okoliczności zawdzięcza on swoje zwycięztwo. Dalibóg, nie mam pojęcia jakiej formy krystalicznej jest jego dusza... sądzę jednak, że chyba nic przyjemnego kształtem swym nie przypomina... Lecz może zazdrość pańska tak jest wielką, że mimo wszystko życzyłbyś sobie na jego być miejscu? — spytał z uśmiechem.

Bergström milczał.

— Zazdrość jest namiętnością, która etc. etc. — zacytował po chwili, siadając na krześle.

Pauli uśmiechnął się.

— No, chwała Bogu, uspokoił się pan na tyle, że możesz już Schleiermachera cytować — rzekł — do tego trzeba rzeczywiście spokojnego umysłu. Cieszę się, że moje usiłowania przecie na coś się zdały. Nie zechciałby pan teraz zgodzić się ze mną, że na całe to zdarzenie patrzeć należy „d u h a u t e n b a s“. Na nic innego nie zasługuje, szczerze mówiąc. Ulokujmy je też w należytem od nas oddaleniu, nie ośmieszajmy się, my, jednostki prawdziwie wyższe! Z tego zaś patrząc punktu widzenia, możemy się nawet zabawić, gdyż sprawa ta, bądź co bądź, jest zajmującą; wiele z niej nauczyć się można o dziwnych losu kolejach, o bolesnych ciosach nemezys okrutnej... o słabości i głupocie ludzkiej, o ofiarach może... w końcu zaś dojrzymy siłę brutalną i blagę tryumfujące nad niewinnością i swobodą myśli i uczuć... żywy hymn na cześć prawa natury rządzącego światem. A wrodzony nam pessymizm i pogarda dla ludzi, jeszcze się wzmocnią i ożywią... Czego można żądać więcej? Wierzaj mi, że jedno takie doświadczenie więcej nauczy niż sto romansów przeczytanych.

Bergström zapadł w milczenie chmurne. Pauli spoglądał uważnie na swego sąsiada; siedzieli tak przez chwilę, nie przemówiwszy do siebie słowa. Wtedy doktór spojrzał na zegarek, a zobaczywszy która godzina, zerwał się z miejsca.

— Do licha! jak to już późno! — rzekł — zawsze tak bywa w miłem towarzystwie.

Z uśmiechem zbliżył się do Bergströma, który również powstał.

— Dostanę burę od mojej pary w domu za to, że spóźniłem się na obiad! — rzekł. — No, bądź pan zdrów... jakie to głupie, że nie mogę prosić pana do siebie — lecz pojmujesz...

Bergström dotkliwie odczuł złośliwą tę uwagę, lecz nic nie odpowiedział, tylko w milczeniu skinął głową.

— Ostatnie jeszcze słowo! — ciągnął dalej Pauli, ściskając dłoń Bergströma — pokaż mi pan, że niezupełnie usuwasz się od starego przyjaciela! Niedługo przecież zostanę sam w domu, a pańskim to będzie obowiązkiem zastąpić mi kochaną córkę, nieprawdaż?... chociażby z tytułu p o k r e w i e ń s t w a, że tak powiem... tak, pan najbliższy krewny... Stosunek nasz teraz do pewnego stopnia wyjaśniony, nie sądzi pan? No, bywaj zdrów! do widzenia.

Bergström ukłonił się zimno.

— Dziękuję! — szepnął — będzie mi... lecz nie dokończył, gdyż doktora nie było już w pokoju.

krytyki, dyskusyi, pragnienie nieznane zupełnie wiekowi poprzedzającemu. Wolter jest różny w każdej z trzech faz swego życia: w pierwszej rzuca nam zaledwie kilka liberalnych zdań w „Edypii". Kije lokajów de Kohan'a i Loche stworzyły drugiego Woltera. Nie wszystko było pięknem w Londynie. Walpole u szczytu swej potęgi, parlament zbezczeszczony, państwo skubane bezwstydnie przez dwór Jerzego I. Ale jednak parlament ten debatował nad sprawami kraju i on wyznaczał podatki. Byli ludzie, którzy mówili głośno. Literaci i uczeni bywali ministrami, a Swift z wygnania przypominał, co potrafiła naradzająca się potęga dziennikarstwa. Wpływ Anglii na Woltera trwał blisko lat dwudziestu i ustaje około r. 1450. Pani du Châtelet umiera; rozstaje się z Fryderykiem, zamyka się w Ferney. Wreszcie trzęsienie ziemi w Lizbonie roztrzaskuje do reszty optymizm jego. Odtąd będzie już „Paskalem spadłym z czyśca do czeluści piekieł, Paskalem, który przeklina, ale nie „szuka" więcej — wyjąwszy dni, kiedy jest chory i kiedy powraca do Beyle'a: ten uczy ludzi, jak być szczęśliwym i mądrym, jak wątpić i żyć bez systemu, jak poznawać nie to, co jest, ale to, czego nie ma, jak cieszyć się nie z posiadania prawdy, ale z odkrycia błędu i kłamstwa". — Taine widział straszliwy błąd XVIII wieku w „jadzie W. Rewolucyi", t. j. w nadużywaniu bezwzględnego rozumu w sprawach polityczno-społecznych. Morley, aczkolwiek mówi również o „fałszywych zastosowaniach metod matematyki w zagadnieniach socyologicznych" — to jednak po dalekiej ekskursyi historycznej z całą przyjemnością powraca do znanego twierdzenia Tocqueville'a, że Rewolucya była koniecznem ogniwem w łańcuchu przyczyn i skutków historycznych. Ta zdolność właśnie oceniania i patrzenia wszechstronnego, to główny rys charakterystyczny Morleya-krytyka. I Comte bezwątpienia wpływał na młodego Morleya. Kiedy ten atoli później pisał o nim do „Encycl paedia Brytannica" — oto jak zsumował sąd swój o papieżu pozytywizmu francuskiego. „Wrogowie Comte'a ułożyli formułę: *Comtayzm = katolicyzmowi—chrystyanizm*; przyjaciele jego odpowiedzieli formułą: *Comteyzm = katolicyzmowi—wiedza*. W istocie rzeczy jest comteyzm niczem więcej, jedno utylitaryzmem przyozdobionym w fantastyczne dekoracye. Odwrócić tylko decorum: niemasz comte'yzmu, utylitaryzm istniał bowiem zarówno przed, jak i po nim". Innemi słowy cała oryginalność Comte'a ma się znajdować w części jego systemu najbardziej wątpliwej. Tutaj kończy się praca czysto literacka Morley'a.

Z książką zatytułowaną „On compromise" wchodzimy już do publicystyki. Minęło już półtora wieków od Woltera i Encyklopedii. Dziwnem wydaje się Morley'owi, że światopogląd dawny jak poprzednio, tak i teraz panować nie przestaje. Czyliż — pyta — nie czas jeszcze, ażebyśmy mówili jak myślimy, postępowali jak mówimy i piszemy? Czyliż nie wybiła jeszcze godzina utworzenia społeczeństwa, odpowiadającego danym nauki, jak niegdyś chrystyanizm urobił je za pomocą swych dogmatów? Czyliż tyrania zwyczaju ma być silniejszą, aniżeli kiedykolwiek były prawa i nakazy. Jak więc przystąpić do tych wielkich zmian? Filozofia ustami Spencera głosi, że „kompromis" jest w naturze rzeczy; jest nim rezultat sił różnych działających jednocześnie. I Morley przyjmuje tę doktrynę. Pewien wielki pisarz marzył o krzyżu na szczycie wieży Eifla. I Morley w ostatniej części swej książki szkicuje religią przyszłości i ukazuje nam „legendę łaski i litości ucieleśnioną w nowej i szerszej ewangelii, do której chrystyanizm dostarczy materyałów: zupełnie bowiem analogicznie wiara stuleci naukowych powstanie z wiary chrześciańskiej, jak ostatnia powstała z żydowskiej. Nie obędzie się atoli bez walki: nowa wiara, wyklęta przez matkę swą, ogłosi jej wojnę na śmierć i życie"...

Ze studyami nad Burke'm, do których następnie (1889) przyłączyła się praca nad Walpolem, Morley rozpoczął swój żywot polityczny. Właściwie datuje się to od maja 1880 r., t. j. od chwili, kiedy objął redakcyę „Pall Mall Gazette'y". Zauważmy, że dziennik ten był innym w tym czasie i dopiero później stał się sławnym skandalizowaniem stosunków arystokracyi angielskiej. Wtedy to Morley wielkim krokiem przesuwał się od prasy peryodycznej (Tortnightly Review) do prasy bojowej. Kwestya, która go najbardziej zajęła, to wieczna bolączka angielska — Irlandya. Morley-historyk już był dawno sobie utworzył pogląd na tę sprawę. Siedm wieków okrucieństwa i rozboju, to dosyć, ażeby po nich nastąpił jeden chociażby skruchy i dobrodziejstwa. Ale z drugiej strony Irlandya skompromitowała swą sprawę przez fenjanizm t. j. równy angielskiemu rozbój i okrucieństwo. Jeszcze w roku 1880 w manifeście wyborczym nie uważał kwestyi irlandzkiej za godną, ażeby została kwestyą dnia partyi liberalnej. Ale pogląd ten zmienił się prędko i zmienił się w biurze redakcyjnem „Pall Mall Gaz." czyli jak mawiał Morley w „gabinecie wiwisekcyi społecznej i politycznej". Zapoznał się z przywódzcami irlandzkimi, odbył kilka podróży po „zielonej wyspie", starając się przedewszystkiem zrozumieć system terytoryalny, który skazuje na nędzę właściciela i rolnika. Wreszcie przyszła chwila, kiedy uznał za obowiązek moralny i konieczność polityczną ofiarować Irlandyi to, czego żądała. Jeszcze przed billami Gladstone'a stawał w obronie praw irlandzkich; po rozprawach lutowych stawał się on, zupełny homo novus, traktowany dotychczas, jak zwykle ideolodzy bywają traktowani przez ludzi czynu — stawał się jedną z najwybitniejszych postaci partyi liberalnej. Na jednym z olbrzymich meetingów nazwał go jeden z słuchaczy: you're the man for Ireland! (ty jesteś człowiekiem Irlandyi). To przezwisko, które może śmiało, jeśli nie więcej, stawać obok „Zdobywcy" (William the Conqueror) i „Lwiego serca", przyjętem zostało huraganem uznania i przejdzie do historyi.*) Kiedy później nastąpił zwrot prawdziwie tragiczny w dziejach tej kwestyi, kiedy zginął tak przedwcześnie Parnell, Morey pozostał niewzruszonym. Rok temu mówił do swych wyborców z Newcastle: „Cokolwiekbądź się stanie, my pozostaniemy wierni swym przyrzeczeniom. Irlandya złożyła w nas swoje nadzieje; nie zawiedzie się. Godzina jest krytyczna, objawy są groźne — nic z tego. Zwyciężeni albo zwycięzcy walczyć będziemy do końca. Kiedy dym, kurzący się dzisiaj w walce na ziemi irlandzkiej rozejdzie się, ujrzycie znowu przyjazne ognie na brzegu angielskim". A kiedy pytano go: A cóż, jeźli umrze Gladstone? — odpowiedział żywo: Gladstone nie umrze. Może ma racyę: boć jeżeli umrze Gladstone, pozostanie... Morley.

*) Przypomnijmy sobie tylko zwycięzkie pochody po Irlandyi w początkach r. 1888 i do Tipperary we wrześniu r. 1890.

Zen. Por.

I wrócił do swej madeiry.

* * *

Niedługo potem, powziął on myśl szczęśliwą dokonania odważnego na sobie eksperymentu: postanowił odbyć sam podróż do Walii i gór szkockich — tam, gdzie zamierzał pojechać po ślubie wraz z Engelką. Podróż taka, sądził, najwyraźniej przekonać go zdoła, czy kocha ją jeszcze, czy też nie; wszak cieszył się tak na myśl, że z nią razem podróż tę odbędzie!...

Tak więc udał się sam i ku wielkiemu zadowoleniu zauważył wkrótce, że tęsknota za nią, na drugi plan zeszła w jego świadomości. W pierwszych dniach odczuwał ją silnie, zapewne jednak wskutek sztucznie podsycanego sentymentalizmu, lecz znikała ona jak rosa przed ciepłemi słońca promieniami, w miarę zagłębiania się i rozkoszowania pięknemi widokami natury, które go zewsząd otaczały. Tak! to pewnie czyste, ożywcze tchnienie przyrody duszę jego uzdrowiło, acz grunt poprzednio już był przez byłego teścia przygotowanym: on to przyrządził dlań lekarstwo z pigułek prawdy gorzkiej i rozumu... a skutek lekarstwa nie był też bez znaczenia. Któremu z dwu tych zbawiennych wpływów większą winien był wdzięczność, nie wiedział jeszcze, — lecz prawdę mówiąc, mało go to obchodziło. Był zdrów, a to najważniejsze. Podróż pod każdym względem była znakomitą, a w drodze powrotnej mógł nawet przyjemny skonstatować fakt, a mianowicie, że zwiedził dwa razy tyle aniżeli gdyby był zabrał ze sobą Engelkę.

Zdrów więc i zadowolony powrócił w jesieni do swego rodzinnego miasta. Przypadek zrządził, że pierwszą parą ludzi, których na ulicy spotkał, byli Engelke i Nörgaard. Milcząc szli obok siebie, zbliżając się ku niemu po drugiej stronie ulicy.

Bergström przyglądał się im ciekawie: Nörgaard utył, jak mu się zdawało, nabrał trochę wyglądu księdza, lecz wyraz jego twarzy zupełnie był niezmienionym. Wzrok ostry skierował na Bergströma, gdy przechodzili. Engelke wydała mu się jeszcze smuklejszą, więcej jeszcze delikatną, Z poważną miną kroczyła śmiało naprzód; nie zauważyła go wcale.

Bergström przystanął gdy przeszli i patrzał za nimi z uśmiechem z lekka potrząsając głową...

KONIEC.



Bebel a Vollmar.

Kiedy przed laty wrzała między Beblem a Vollmarem walka na temat państwowego socyalizmu. zdarzyło się wówczas, że Brandes odwiedził obu wodzów, rozmawiał z nimi, a następnie skreślił ich sylwetki.

Nie od rzeczy — zdaje się nam — będzie, jeśli wobec mającego się niebawem odbyć zjazdu socyalnej demokracyi we Wrocławiu, przytoczymy bodaj w wyjątkach to, co o nich Brandes napisał, tem bardziej, że sylwetki te są zbyt mało znane.

Obaj ci mężowie — powiada Brandes — są mężami najbliższej przyszłości. Liebknecht bowiem, ów stary rewolucyonista z r. 1848 nie może być brany w rachubę, gdyż nosi na sobie piętno przeszłości. „Młodzi" zaś, czyli t. zw. niezawiśli socyaliści, jak Bruno Wille i Wilhelm Werner, jakkolwiek grubo nadszarpali powagę i „nieomylność" Bebla, to jednak nie potrafili jeszcze dotąd zdobyć wśród mas takiej jak on popularności. Bebel i Vollmar zajmują dominujące w obozie socyalistycznym niemieckim stanowisko, a charakterystyczniejsze to tem bardziej postacie, że przez długi szereg lat byli ścisłymi towarzyszami broni i dopiero r. 1891, kiedy chodziło o taktykę partyjną, uczynił z nich wrogów.

„Bebel — mówi Brandes — były tokarz, urodził się w r. 1840, Vollmar zaś, były oficer kawaleryi w r. 1850. Pierwszy pochodzi z rodziny rękodzielniczej, drugi ze starej rodziny szlacheckiej. Pod względem jednak duchowym obaj są uczniami Marksa.

A dalej kreśli Brandes w następujący sposób sylwetkę Vollmara.

„Gdy Vollmar składa komuś wizytę, to odbywa się ona w ten sposób, Najpierw zjawia się na progu żona jego, jedna z najczarowniejszych cór Szwecyi, i zapytuje, czy się przyjmuje odwiedziny. Tymczasem Vollmar oczekuje w powozie. Jest chory na nogi i dla tego stara się unikać fatygi chodzenia po schodach. Kiedy w roku 1870 jako porucznik

prowadził oddział przez Loirę w pobliżu Blois, został ranny wystrzałem z karabinu i spadł z konia tak nieszczęśliwie, że obie nogi złamał. Złamania okazały się jako nieuleczalne. Przykre sprawia wrażenie, gdy się po raz pierwszy spostrzega człowieka olbrzymiej budowy, wlokącego o kulach swe bezwładne członki po schodach. Kiedy jednak stanie w pokoju, wyprostowany, wówczas poprzednie wrażenie znika zupełnie i widzi się przed sobą człowieka o niezwykłej i niespożytej sile.

On i jego małżonka stanowią dziwną parę, dwoje zupełnie odmiennych ludzi, między którymi panuje jak największa harmonia. Ona średniego wzrostu, spokojnego usposobienia, uczuciowa, cała jej istota to jeden akord, on wspaniałego wzrostu, nader głośno, za głośno mówiący, pełen werwy młodzieńczej, cała jego istota to fanfara. Co za piękny widok, gdy oboje siedzą obok siebie, a jej ręka tonie w jego dłoni!

Jako socyalista potrafi dojść Vollmar aż do doktrynerstwa, zresztą jest człowiekiem wielostronnej wiedzy, nie jest sangwinikiem, nie jest w wysokim stopniu optymistą, tak jak to zwykle u agitatorów się zdarza. Już ta okoliczność, że rozporządza wiadomościami najrozmaitszego zakresu wiedzy i wszystkie studya duchowe przeszedł, ma więc bystry pogląd na rzeczywistość i posiada tę duchową zwinność, która na tem polega, że tak w mowie jak i w piśmie zawsze zwraca się do innej klasy społecznej, aniżeli do tej, do której on należy.

Mnisi Benedyktyni augsburscy kierowali jego wychowaniem. W r. 1865 został chorążym a w r. 1865 odbył kampanią przeciw Austryi. Po zawarciu pokoju udał się do Rzymu. Tu z zapałem występował w obronie Kościoła katolickiego i z zamiłowania do stanu wojskowego wstąpił jako oficer do wojska papiezkiego. Kiedy jednak w roku 1870 wybuchła wojna francusko-pruska, wrócił Vollmar do Bawaryi. Wziął udział w walce, został ranionym i okaleczał. Pozostając przez długi czas pod opieką lekarską, z zapałem studyował przeróżne gałęzie wiedzy, tak, iż w krótkim stosunkowo czasie rozporządzał znacznym jej zasobem, był znawcą języków, sztuki, wtajemniczony w matematykę i ekonomię. W r. 1876 objął redakcyę jednego z pism socyalistycznych. Dostał się do więzienia, wyszedł, następnie znowu dostał się za kratki, znów wyszedł i znowu się dostał, aż wreszcie pismo jego zostało zgniecione. W więzieniu poświęcał się nauce tak jak w szpitalu. W r. 1881 został wybrany do rajchstagu i od tego czasu, odliczywszy chwile więzienia, był czynnym jego członkiem.

Tak się wyraża Brandes o Volmarze.

Bebel dla Brandesa jest zupełnym kontrastem Vollmara. Jest człowiekiem — jak mówi — monolitem, bez najmniejszej rysy. Mimo to, że wiele przeszedł, wygląda na swe lata młodym, średniego wzrostu, blondyn, niemal delikatny, posiada wzrok bystry, energiczny, silny, niemal rozkazujący głos. Jest zasobnym w wiedzę autodydaktem, wszystkich żywotnych spraw świadom, któremu brak tylko jednej gałęzi wykształcenia, a mianowicie towarzyskiego sposobu prowadzenia rozmowy o rzeczach, nie mających praktycznego celu. Jest głęboko poważnym i aż do głębi wierzącym, ognistym w tym stopniu, na jaki tylko mownica pozwala a nie salon, pełen tej wiary, w przyszłość swej sprawy, nieprzywyczajony w życiu prywatnem natrafiać na opozycyę, ani jej nie znoszący. Dzierży swój ciężki miecz z całą pewnością siebie, a jednak napadnięty lekką szabelką, nie potrafi się swym mieczem dostatecznie obronić... Bebel, to typ jednego z pierwszych chrześcian, którzy spodziewali się każdej chwili spełnienia swych pragnień o królestwie tysiącletniem. Za pięć, za sześć lat, prawdopodobnie nim jeszcze ten wiek zapadnie, spodziewa się Bebel zupełnego upadku społeczeństwa burżuazyjnego. Nie znosi by jego to zapatrywanie chrzcić nazwą „marzenia“. Jest święcie przekonany, iż nie ma człowieka, któryby rozsądniej myślał i obliczał jak on. Jego sposób myślenia jest n. p. następujący: W tej chwili w mocarstwach Europy stoi 14 milionów ludzi, gotowych na pierwsze skinienie mordować się. A to jest tylko cząstką, bo mocarstwa te mogą zmobilizować daleko większe masy. Same Niemcy i Francya wystawiają do boju 9 milionów wojska, a gdzież jeszcze Rosya, a Austrya, a Włochy? Wielka wojna sprowadzi ogólny krach. Z wybuchem wojny wybuchnie w krajach tyfus głodowy, okaże się niemożliwość zaspokojenia takiej liczby wojska w chleb. Doskonałość broni spowoduje zaraz z początku tak olbrzymie straty w ludziach, jak nikt o tem pojęcia nie ma. Żaden kraj nie ma szpitali, w którychby rannych mógł pomieścić, żadne wojsko nie będzie w stanie swych zabitych pogrzebać. I wtedy to powstaną ludy i sprowadzą upadek starego porządku rzeczy. Wskutek starcia się Rosyi z Niemcami, Niemcy staną się dobrodziejami, wybawcami Rosyi. Co się tyczy reprezentantów starego porządku, to nie zajdzie potrzeba, aby im czynić co złego, można będzie ich całkiem spokojnie wywieść do Afryki, albo do jakiego innego kraju. W tem przerwał ktoś Beblowi: „Ale zwycięska wojna oznacza zawsze reakcyę; gdy my zwyciężymy, to masami pociągniemy „Pod lipy“ i śpiewać będziem: „Wacht am Rhein“. Na to Bebel: Być może, że sama będzie melodya, — ale wierz mi pan, tekst będzie inny“.

Całych pięć lat przesiedział Bebel w więzieniu. I ten zasób wiedzy teoretycznej, którym rozporządza, wówczas sobie przyswoił. W ruchu robotniczym począł brać udział mając lat 22. Pełen zapału i energii wkrótce wszedł w grono przywódzców robotniczych. Przez lat 20 nieprzerwanie jako najwyższy przywódzca partyi zasiada w rajchstagu i widzi zwiększającą się ciągle liczbę zwolenników, zwiększającą się potęgę obozu socyalistycznego. Z początku, gdy począł brać udział, partya liczyła tylko tysiące wyborców, dziś liczy miliony. Ustawa kagańcowa wzmogła tylko siły partyi.

Tak wszystko co człowiek ten widział i przeżył, działało w jednym kierunku. Ukształtowało się to wszystko co się nauczył i w co wierzył, we wiarę. Każda klęska, której doznał, obracała się w końcu ku szczęściu. To zwiększyło jego wiarę i siłę woli, zwątpienia jednak i krytyki rozwinąć w sobie nie potrafił.

To sylwetka Bebla wedle Brandesa.

Gdybyśmy sobie obecnie postawili pytanie, którego z nich, czy Bebla czy Vollmara stawia Brandes wyżej, to znaleźlibyśmy odpowiedź jego następującą:

„Gdy ustawę kagańcową zniesiono, nastręczyło się pytanie, jaką nową taktykę należy obrać wobec zmienionych stosunków. W mowie swej wygłoszonej w Monachium 9 czerwca 1891 roku, zaznaczył Vollmar, iż dotychczas (t. zn. do r. 1891) socyaliści tworzyli sektę, obecnie jednak powinni stworzyć partyę polityczną; zaniechać należy zadowolniania się ogólnymi rezolucyami a chwycić się pracy praktycznej celem wywalczenia koniecznych i dających się osiągnąć praw. Mowę tę Vollmara pojęto jako „zrzeczenie się ideału“. Bebel wydał wojnę Vollmarowi i zażądał na kongresie erfurtskim (14—21 paźd. 1891) wykluczenia go z partyi. Była to polityczna próba sił, przyczem jednak przyjaźń między oboma w niczem nie ucierpiała. Podczas gdy bowiem na zewnątrz występowali jako zapaśnicy, to tymczasem rzeczy i meble nieobecnego w Berlinie Vollmara złożone były w mieszkaniu Bebla. Wywodom Vollmara nie mógł Bebel sprostać i w rozstrzygającej chwili przerzuciły się zastępy robotnicze na stronę Vollmara. Vollmar utrzymał swe stanowisko w partyi i nastąpiło pogodzenie się między obu zapaśnikami. Tak więc taktyka wzięła górę nad przekonaniem, krytyka miała więcej wpływu jak wiara optymistycznie usposobionego przewidywacza“. *Monitor.*

Ze Szląska Polskiego.

(Niesłuszny zarzut. — Rzut oka na prasę polską na Szlązku. — Wycieczka do Poznania. — Umyślnie, czy przypadkiem? — Kupujcie u swoich! — Czy można polskie wyroby na Szląsk wprowadzić i w jaki sposób?)

Ciężki zarzut przesyła Górny Szląsk kreszcie kraju przez usta swego poety Czesława Lubińskiego w pieśni „Pędzą jak na skrzydłach lata“, słowami:

> Właśni bracia nas rzucili,
> Którzy wołać nas uczyli:
> Kochajmy się, kochajmy się!

Nie ze wszystkiem na zarzut ten godzić się można. Podobnie jak Piastowie szląscy przed wiekami nie zostali porzuceni przez swych ziomków, lecz oni raczej nietylko, że się od swych braci odczepili, ale nadto przez wzywanie pomocy cudzych ludzi przeciw reszcie kraju stali się zależnymi od Niemców a w końcu ich poddanymi, tak i obecnie nie prędzej będzie lepiej na Szląsku, dopóki Szląsk sam się z uścisków opiekunów niemieckich na dobre nie wydrze.

W miarę tej emancypacyi zjawi się i pomoc rodaków, lecz dopóki my sami nie złamiemy stalowych obręczy niemieckości, dopóki śmiało słowem i czynem nie zaprosimy braci naszych do wielkiej pracy nad dziełem odrodzenia, dopóki nie przestaniemy spoglądać na Polaków z nad Wisły i Warty z pewnem uczuciem nieufności i ambarasu — drżąc przed gromem niemieckich potentatów, — dopóty ziomkowie nasi z innych dzielnic kraju nie znajdą odwagi do energicznego współdziałania z nami. Toż na dnie duszy polskiej drzemie jakaś ambicya, by nie odegrać roli natrętów.

Powtarzam zatem, że i na nas Szlązakach ciąży obowiązek zapraszania do siebie reszty braci i to nietylko słowem, lecz czynem przedewszystkiem a taka akcya dziś jeszcze nie dość wyraźnie u nas się ujawnia.

Zwierciadłem ludu jest zawsze jego prasa. Spojrzyjmy na prasę polską na Górnym Szląsku. Najwięcej rozpowszechnionem pismem u nas jest „Katolik“ bytomski, wychodzący w liczbie coś około 17—20,000 egz. Kiepska polszczyzna i kierunek niewyraźnie polski, czyni z „Katolika“ coś w rodzaju po polsku pisanego organu niemiecko - katolickiego stronnictwa centrum. Bezwiednie bowiem, czy z rozmysłem głosi „Katolik“ stale zasługi centrum około polskości, a tylko party przez lepsze jednostki, powtarza lakonicznie raz po raz nadesłane mu notatki odnoszące się do spraw narodowych. Wielka jak na tutejsze stósunki liczba abonentów dowodzi, że kierunek ten jest dobry dla wydawnictwa w znaczeniu *„popłatny“*.

W tym samym duchu redagowany jest ilustrowany tygodnik polityczny, literacki i t. d. „Kronika tygodniowa“ w Mikołowie. Z pomiędzy pism szląskich wyróżnia się „Kronika“ korzystnie oryginalnemi korespondencyami z Bochum w Westfalii i Poznania, — za to przeglądu spraw szląskich braknie tam całkowicie. Korespondent szląski bowiem niechciał, czy nie umiał dość lojalnie pióra swego na wzór kolegów z Poznania i Bochum zaokrąglić, jak tego wymagała redakcya.

„Nowiny Raciborskie“, pismo aż do niedawnego czasu na wskroś narodowo polskie, przygnębione zostało prześladowaniami, a redaktor i wydawca K. Maćkowski zmuszony został karami pieniężnemi i więziennemi do sprzedania „Nowin“ p. Eckertowi, dawniejszemu współpracownikowi „Katolika“. I p. Eckert, odsiadujący obecnie jeszcze 7-tygodniową karę więzienną, zabrał się zrazu sumiennie do pracy w kierunku swego poprzednika. Dziś atoli znękany niepowodzeniem i prześladowaniami, a przedewszystkiem opuszczony od tych, którzy jedynie mogliby i powinni go wesprzeć, upada na duchu i traci to zacięcie narodowo-polskie, które było niegdyś znamienną cechą „Nowin“.

„Gazeta Opolska“ powoli lecz wytrwale pracuje dla dobra sprawy polskiej. Dość przypomnieć, że w Opolskiem wybrano w r. 1894 pierwszego posła polskiego do parlamentu, p. majora Szmulę i że dokonano tego wbrew narodowcom niemieckim i stronnictwu centrum jedynie dzięki zabiegom „Gazety Opolskiej“.

Ale cóż znaczą owi 2500 czytelników gazety wobec 20,000-nej armii „Katolika“? Garstce inteligencyi i ludu poczynającego czuć po polsku, a skupionemu około „Gazety“ i „Nowin“, dojada niemczyzna na każdym kroku, a większość ludu polskiego pod batutą „Kato-

lika“ patrzy się na to z miną bogatego gbura, oceniającego wszystko podług wagi trzosa.

Wycieczka Szląska do Poznania dość liczna, jeżeli się uwzględni dziwnie obojętne a nawet nieprzychylne traktowanie tej sprawy przez „Katolika“, dowodzi, że o łamaniu lodów w pewnych okolicach już mówić nie potrzeba.

Towarzystwo katolicko-polskie w Opolu, od którego wyszła myśl urządzenia wycieczki do Poznania, uchwaliło wysłać odnośną odezwę i do „Katolika“, a na przypadek nieogłoszenia jej w części redakcyjnej, ogłosić ją *w części inseratów za opłatą*. Uchwała ta dowodzi, z jakim niedowierzaniem zbliża się lud po polsku czujący do „Katolika“, a że niedowierzanie to nie było tak całkiem nieuzasadnione, stwierdził sam „Katolik“, ogłaszając nadesłaną mu odezwę gdzieś pomiędzy wiadomościami potocznemi bez słowa zachęty od siebie i bez najmniejszego objaśnienia — owszem, zacierając rzecz samą umyślnie czy przypadkiem błędami drukarskiemi. W nr. 96 pisze bowiem:

„Pieniądze (na zniżoną cenę biletu kolejowego) trzeba przesłać natychmiast do Opola; trzeba jechać na własną rękę“

zamiast

„Pieniądze trzeba przesłać natychmiast. Do Opola (z dalszych stron) trzeba jechać na własną rękę“.

Charakterystycznem jest i to, że związek wzajemnej pomocy chrześcijańskich robotników w Bytomiu w tym samym numerze ogłasza zebranie, a Towarzystwo Górnoszląskich Przemysłowców w Bytomiu zabawę latową połączoną z koncertem i śpiewami na cztery głosy na 18go sierpnia, tj. na dzień wycieczki szląskiej do Poznania. Na czele jednego i drugiego Towarzystwa stoją, o ile nam wiadomo, współredaktorzy „Katolika“. Przypadek to i nic więcej, lecz nie mniej osobliwy.

Tak bardzo pożądane zbliżenie się Szląska i Wielkopolski, zapoczątkowane wycieczką szląską do Poznania, dokonane być może we większym niż dotąd stopniu na podstawie ekonomiczno-materyalnej. Wystawy w Poznaniu nie często się odbywają, lecz wiarusy szląscy daleko częściej potrzebują różnych przedmiotów, począwszy od książki aż do machin parowych, które i tak sprowadzać muszą.

Eksport Szląska, prawie wyłącznie w niemieckich rękach się znajdujący, mniej nas może obchodzić. Natomiast z importem szląskim, a przedewszystkiem z importem Górnego Szląska zapoznać nam się potrzeba. Hasło: „Kupujcie u swoich“ nie traci na wartości dla tego, że na Szląsku nie ma pod dostatkiem polskich fabrykantów i kupców. Niech tylko kupcy i fabrykanci z Wielkopolski i Galicyi umieją wyzyskać to, co jest, a wytworzyć z czasem to, czego nie ma, a co być powinno koniecznie. Zakładajcie filie, agentury, starajcie się o zastępców i podróżujących na Szląsku! Nie zapoznaję najmniej trudności z tem połączonych, lecz wierzę, że trudy te materyalnie się opłacą, a dla odrodzenia się Szląska błogie przyniosą owoce.

Księgarnia Katolicka z Poznania utrzymywała w Królewskiej Hucie przez długi czas księgarnię, a nawet pismo peryodyczne tam wydawała. Nie wiem, aby coś na tem przedsiębiorstwie była przytraciła, a jeżeli się to stało, to chyba wskutek nadużyć dysponentów, co wszędzie zdarzyć się może, a czego na karb Szląska pisać nie wolno. Pewna fabryka maszyn w Poznaniu obawia się wyroby swoje na Szląsku polecać, ponieważ według jej przekonania nie może konkurować z fabrykami szląskiemi, które mają surowy materyał na miejscu, podczas gdy ona musi węgiel i żelazo sprowadzać z daleka, a jej wyroby musiałyby być wskutek tego na Szląsku drożej sprzedawane o cenę podwójnej przesyłki, bo surowca i gotowego wyrobu. Jest to może dedukcya uczciwego człowieka, lecz nie przedsiębiorcy i kupca. Nie wiem, czy robotnik w Poznaniu nie jest tańszy, niż w Bytomiu i Wrocławiu, nie wiem również, czy fabryki niemieckie na Szląsku, nie mając konkurencyi polskiej, są podobnie uczciwe i istotnie ze względu na mniejsze koszta transportu taniej sprzedawają, lecz to wiem na pewne, że fabrykanci z Nadrenii, Berlina i Bóg wie zkąd, niezłe tu robią interesa mimo, że ich koszta transportu nie są mniejsze niż kolegów poznańskich. Być może, że w branży maszyn nie mamy dotąd dość ludzi, którzyby na wzór wrocławskiej filii N. N. z Buckau-Magdeburg mogli na Szląsk warsztaty swe rozprzestrzenić, lecz do wszystkich gałęzi naszego przemysłu stanowczo tego zastosować nie można. Trudno mi na poczekaniu wymienić, gdzie i kto mógłby znaleść odpowiedni kawałek chleba, lecz wkrótce postaram się o dokładniejsze informacye i podzielę się niemi z czytelnikami „Przeglądu“.

Tymczasem niechże kupcy i fabrykanci, którzy mogą pomyśleć o zdobywaniu nowych pól zbytu dla swych wyrobów, sami się z próbkami na Szląsk wybiorą, aby zbadać sprawę. Sprzedadzą bez wątpienia tyle przynajmniej, że im podróż się opłaci, a powoli podróże te albo systematycznie wejdą w życie, albo znajdą się tu na miejscu odpowiednie siły, które przyjmą zastępstwo stałe.

Chm.

NA WYŁOMIE.

(Wąż morski — Niespodzianki — Sedan a Polacy. — Katastrofy w teatrze.)

Gdy przed trzema tygodniami opuszczałem szranki Przeglądowe, zalegała miasto i prowincyę owa cisza głęboka, z której zwykle wychyla paszczę potworną — „wąż morski“. Więc gdy lokomotywa unosiła mnie tam, gdzie „z gwiazdami na szyszakach i z proporcem obłoków“ wznoszą się kolumny szczytów tatrzańskich, układałem w głowie fantastyczne legendy o przerażającem zjawisku natury, co to łeb ma jak trzypiętrowa kamienica, zęby tak wielkie, że zadrażałyby obcęgi w palcach najtęższego dentysty poznańskiego, a paszczę tak olbrzymią, że trzech najgrubszych redaktorów poznańskich mogłoby tam wygodnie odbyć pojedynek na pięście. Ot! myślałem sobie — gdy tam w Poznaniu łamią sobie głowy, czem zapełnić łamy „Przeglądu“ i ożywić sennych czytelników w ogórkowym czasie, zoologia moja stanie się zbawieniem. Gęsi ocaliły Kapitol, „wąż“ uratuje panów redaktorów.

Lecz nagle w dalekiem ustroniu podhalskiem zjawiły się na skrzydłach telegrafu jakieś dziwne wieści z Poznańskiego. Zrazu głuche pogłoski, szerzące popłoch w gronie letników i turystów, potem przerażający krzyk oburzenia i wojenne larum, potem... potem... wiecie co się stało. Wojna o Mileszewy zelektryzowała całe społeczeństwo, i panów redaktorów, szukających naprożno w głębinach kałamarzów sensacyjnych tematów, wybawiła z kłopotu. Bolesny ratunek! — wąż mój w tece pozostał. I rzecz dziwna! W ślad za Mileszewami posypały się jak z rogu obfitości roje wypadków i wypadeczków na puste stoły redakcyjne. Przyjazd Górnoszlązaków, polemika „Kuryera“ z dzielnym redaktorem „Gazety Opolskiej“, manifest małego Włodzia przeciw wielkiemu panu Franciszkowi, premiowanie wystawców poznańskich i gorzkie łzy pokrzywdzonych, wreszcie zjazd aptekarzy, polskie chorągwie na obchodach Sedanu, wojna o zmianę napisu „Naród sobie“ na „Naród Niemcowi“ w kamienicach „Pomocy“ i radykalny przewrot w teatrze poznańskim. Ani słowa! M e n u feljetonowe wyśmienite, ale lękam się, że spożycie całej litanii paprykowych przysmaków naraziłoby żołądki czytelników moich i dla tego usuwając tuzin półmisków z pieczystem faktów dokonanych, zwracam się od razu do tego, co się dziś jeszcze nie stało, co żadną miarą stać się nie powinno, co cofnąć trzeba z półdrogi, — mówię o Polakach święcących tryumf sedański. Dziwne to słowo! Gdyby ktoś przed 10 laty był mi powiedział, że polskie chorągwie pochylą się przed krwawą pamiątką pruskiego zwycięztwa, — gdyby ktoś przysięgał mi, że polskie towarzystwa i cechy staną do pochodu, gdy naród niemiecki święcić będzie jubileusz tej chwili, z której wyrosła żelazna potęga cesarstwa a z nią razem bicz na Polaków, — gdyby ktoś ukazał mi widmo ojczyzny, święcącej pamięć historycznego momentu, z którego za krew polską, przelaną na polach Sedanu, wyłoniło się hasło „Ausrotten“, możebym śliną w twarz cisnął oszczercy i wołał głośno, że kłamcą ten, kto mój naród oskarża, że kark swój schyla tak nisko i depcze honor nogami. A dziś wieść się pojawiła w łamach dzienników poznańskich, a ja nie znalazłem odwagi wątpienia. W ostatnich latach życia naszego rozegrały się takie orgie lojalizmu i tak często w prochu tarzała się cześć narodu, że wyszarpano mi ogrom wiary w dumę społeczeństwa i rozpętano sceptycyzm. Tak! grają dzwony w uczciwszych pismach na trwogę i nie jest fałszywym ten alarm. Są miasta w Księstwie Poznańskiem i w Prusach Zachodnich, gdzie polskie sztandary mają się pochylić przed pomnikiem pruskiej potęgi, gdzie polscy obywatele cześć postanowili krwawe wawrzyny Moltków i Bismarcków, gdzie nawet „Sokół“, ptak dumny, w proch się chce poniżyć przed tryumfem Sedanu. Prowincya prześcignęła w lojalnych czołobitnościach stolicę poznańską i kierowana gdzieniegdzie drżącą ręką tchórzliwych amatorów świecidełek orderowych, utylitarnych fabrykantów grosza lub wyuzdanych szermierzy „nowego kursu“ zgasiła wstydu rumieńce i błogosławi ten bicz, który nad uchem jej świszczy. Jest jednak w tej chmurnej nocy, ogarniającej społeczeństwo nasze, promień jasny, budzący otuchę — bo oto! na straży honoru narodowego stanęła cała prasa polska, i chyba jeden „Kuryer Poznański“ da może poklask korybantom Sedanu.

Jeżeli sądzą, że taki hołd im zaszczyt przyniesie, niechaj zawrą uroczyste przymierze z społeczeństwem niemieckiem i niechaj się pieszczą uśmiechami tego, którego okrzyk: „Pereat Kościuszko“ brzmi nam jeszcze w uszach i zmiesza się, nie dziś to jutro, z błogosławieństwem Sedanu. I więcej jeszcze! Kuryerowy D o m a r a t rozkrzyczy w „Czasie“ krakowskim ich „polityczną trzeźwość i dojrzałość“, a maleńki Włodzio napisze z tego powodu autobiografią p. t. „Purchawka“ i zadedykuje ją „als Jubiläumsgabe“ żelaznemu księciu.

Dwadzieścia pięć lat od chwili Sedanu, — srebrzysta liczba w wawrzynów niemieckich girlandzie; — 13 lat od dnia objęcia rządów teatralnych przez p. Dobrowolskiego — feralna cyfra w żałobnej obwódce. Oznacza ona — z winy czy bez winy kierownika — powolny upadek teatru, nieoględne roztrwonienie „żelaznego funduszu“ i bezustanne widmo ruiny. A dziś, — dziś ta nieszczęsna trzynastka mówi nam głosem żałosnym, że pan dyrektor rozproszył na cztery wiatry najwybitniejsze siły sceny poznańskiej, że ani Sosnowski, chluba dramatu, ani Knapczyński, ani Trapszowie, ani Rapacki, ani Wróblewska, ani Skóraczewski, ani ulubiona Helena Zimajer na sezon zimowy nie powrócą do nas, choć ukochali Poznań i pokornie prosili dyrekcyę o gościnę w teatrze naszym. Dano im dymisyę bez wszelkiego powodu lub przedstawiono kontrakty ubrane takim aparatem klauzul elastycznych i artystycznych nonsensów, że woleli szukać chleba po świecie, niż iść na pastwę dyrektorskich kaprysów i łańcuch najdziwaczniejszych paragrafów. I my pragnęliśmy odświeżenia sił teatralnych, i my niejednokrotnie wyraziliśmy życzenie, by pozbyć się nieużytecznych i odstraszających publiczność nietoperzy, — ale dyrekcya skazała na banicyą wszystko nieomal, co było chlubą sceny lub przynajmniej jako kółko w maszynie funkcyonowało względnie prawidłowo, a ofiarowała gościnę tym w pierwszym rzędzie, którzy budzili niesmak w publiczności i krytyce. Znawcy stosunków opowiadają sobie na mieście, że dyrekcya odznacza się dziwną, prawie niezrozumiałą nienawiścią do wszystkich artystów, cieszących się poparciem prasy (!) i „na przekór“ kolegom po piórze zamyka wrota teatralne ulubieńcom — rywali. Ha! niech i tak będzie. Lecz któż na tem straci? Nie prasa, panie Dobrowolski, lecz ten biedny teatr, któremu nie ojcem, lecz ojczymem jesteś.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Nr. 22 Monitora (Lwów) wyszedł i zawiera: Praktyki Targowiczan. — O baszach śniatyńskich. — Chłopi w Brzeskiem. — Z za kulis lwowskiej policyi. — Z poznańskiego zaboru. — Plotki w prasie. — Zapiski. — Nowości literackie. — Ogłoszenia.

* * *

„Rodzina Połanieckich“, Sienkiewicza, ma być przerobioną na scenę. Zajmują się jej układem i uscenizowaniem poeta Kazimierz Przerwa Tetmajer i członek redakcyi „Czasu“ J. K. Ehrenberg.

* * *

W Warszawie ukazała się w przekładzie znanego malarza i estetyka Wojciecha Gersona niemiecka rozprawa Jana Bochenka p. t. „Normalna postać mężczyzny i kobiety wykreślona nowym sposobem“. W pracy tej stara się autor na mocy rozlicznych pomiarów wyszukać najpiękniejszą proporcyę postaci ludzkiej, a wykład jego mimo trudności tematu odznacza się wyjątkową jasnością. Tłomaczenie zaleca się wiernością i czystością języka.

* * *

Stary pedagog. Szkice pedagogiczne. Lwów, 1895, str. 151.

W naszej literaturze pedagogicznej książka ta zajmie niepoślednie miejsce, choć jest zbiorem, mniej więcej, luźnych uwag o wychowaniu i o szkole. Nie szukaj w niej erudycyi, obszernych wywodów, wyczerpujących studyów, autor bowiem nie jest teoretykiem-pisarzem-pedagogiem z zawodu, lecz praktykiem, empirykiem. P. Bronisław Trzaskowski, ukrywający się pod pseudonimem Starego pedagoga, był profesorem, dyrektorem gimnazyum, a wreszcie członkiem rady szkolnej galicyjskiej, miał więc czas przypatrzeć się szkole i wychowaniu. Uwagi swoje drukował w rozmaitych czasopismach, a teraz je razem zebrał. Ztąd jest w nich wielka rozmaitość, ztąd potrąca autor o tyle kwestyi, że w notatce bibliograficznej nie starczy nawet miejsca na ich wymienienie. Postaramy się obszerniej o „Szkicach“ napisać, bo jest w nich wiele zdań i zapatrywań prawdziwie „złotych“.

* * *

„Alpuhara“ po łacinie. P. Grzegorz Saenger, profesor literatury rzymskiej w uniwersytecie warszawskim, przełożył „Alpuharę“ Mickiewicza na język łaciński i przekład swój umieścił w ostatnim zeszycie „Wiadomości Ministerstwa Oświaty“. Przytaczamy tu pierwsze dwie strofy przekładu:

Strata jacent Arabum disiectis oppida tectis,
Ferrea cervices incurrant vincula Mauras;
Arcet adhuc fidis Granata a moenibus hostem,
Sed Granata gemit dira pessumudata labe.

Parva cohors etiam manet Almansoris in armis;
Alpuharranas certans defendere pinnas;
Constituit tamen Hispanus vexilla sub urbe,
Mane novo molem suma ruiturus opum vi.

* * *

Zofijówka. Z powodu upływającej w bieżącym roku stuletniej rocznicy od czasu założenia słynnego humańskiego parku, Zofijówki, owego pomnika namiętnej miłości hr. Feliksa Szczęsnego Potockiego do drugiej żony — p. Iwaszczenko wydał książkę, p. t. „Historyczny rys Humania i Carycyńskiego sadu“ (Zofijówki). W książce tej znajdujemy powtórzone szczegóły romantycznego życia hr. Zofii Potockiej.

Sprowadzona w 1778 r. przez polskiego posła Lasopolskiego z Konstantynopola grecka branka, piękności czarującej, rozwinięta w pełni w 13-tym roku życia, kupiona za 1000 złotych przez syna komendanta Kamieńca podolskiego, majora Józefa Witte, zostaje panią Witte. Wykształcona przez męża, nabywszy ogładę zagranicą, olśniewa wszystkich w Paryżu, w Warszawie, w Petersburgu. Budzi zapały późniejszego króla Ludwika XVIII, jest uwielbianą kochanką Potemkina, przełamuje chłód i dumę hr. Feliksa Potockiego. Ten ostatni zrzeka się dla niej niemal całego majątku na rzecz pierwszej swojej żony, a wymówiwszy sobie tylko stałą pensyę z dochodu, kryje się z panią Witte zagranicą. Po śmierci pierwszej żony, Potocki płaci Wittemu 2 miliony złotych za rozwód jego z Zofią, a pojąwszy ją za żonę, zamieszkuje w Humaniu, gdzie, posłuszny jej kaprysowi, stwarza przy pomocy genialnego inżyniera Metzla, uroczy park Zofijówkę. Sam wszakże umiera wkrótce, zgryziony odkryciem romansowego stosunku żony do syna swego z pierwszego małżeństwa, Jerzego. A Zofia, obudziwszy się wreszcie z szału orgii i wyrwawszy się z objęć pasierba, przez ostatnich 15 lat życia dziełami miłosierdzia pozwala zapomnieć o lekkomyślnej swojej przeszłości. Pamięć zmarłej w 1822 r. hr. Zofii otoczono czcią niezwykłą.

Zofijówka w 1834 r. przeszła pod zarząd ministerstwa dworu, stała się własnością cesarzowej Aleksandry Teodorówny, pod nazwą Carycyńskiego sadu. W roku 1859 sad przeszedł pod zarząd przeniesionej z Odesy do Humania szkoły ogrodnictwa. I dziś, jak ongi, znajduje się on w kwitnącym stanie, pociągającym turystów. Szkoda wszakże, że z czasem wprowadzono tu zmiany, wbrew wysoce artystycznej idei Metzla, pragnącego utrzymać złudzenie natury, i tem popsuto ogólną harmonię.

* * *

„Quo vadis“. Sprawozdawca literackiego „Birż. Wied.“ w jednym z ostatnich numerów poświęca obszerny feljeton ostatniej powieści Sienkiewicza i podaje w przekładzie cały opis uczty Nerona, poprzedzając przekład uwagami ogólnemi i charakterystyką pióra naszego mistrza, którą tu powtarzamy: „Rzadko w jakim utworze można znaleźć porywający temat w połączeniu z taką prostotą i naturalnością, jak w powieści „Quo vadis“. Zacznijmy od stylu, zwięzłego i wymownego zarazem, jak całe to życie, które autor maluje. Zdaje się nieraz, że opowiada nie artysta XIX stulecia, lecz surowy syn swego wicku, dziecko epoki, która wydała Nerona, Tyberjusza, Kaligulę. Nic tu niema szablonowego, ogólno-europejskiego. Gdy na scenie ukazuje się Rzymianin, jest on nietylko w rzymską odziany togę, lecz przemawia prawdziwym językiem Tacyta i Liwiusza. Dumny patrycyusz rozgrzewa się namiętnością, lecz nigdy, w największem nawet uniesieniu, nie użyje wyrazów, któreby zdradzały jego znajomość ze stylem książkowym końca XIX wieku. Klasyczna metresa lubi ozdoby, również jak i córa współczesnego półświatka, lecz nigdy nie przeszarżuje uczucia, co dzieje się tylko w czasach teraźniejszych. Niewolnik jest istotą godną pożałowania, marną, jest wszakże niewolnikiem rzymskim i w niczem nie przypomina pańszczyźnianego chłopa. Odstępca religijny, filozof, namiętny adept nowego wyznania — wszyscy są przedstawicielami swojej epoki, tego wielkiego okresu, gdy chrześciaństwo, wyszedłszy z dziecięcych lat swego życia historycznego, odważnie spoglądało w przyszłość po przez stosy i narzędzia tortury.“

* * *

Antoni Zaleski. O zmarłym świeżo dziennikarzu warszawskim „*Antonim Zaleskim*“ takie wypowiada opinie „Kurjer poranny“:

„Był to dziennikarz polityczny, wielce ruchliwy, a stały w dążeniach. Od samego początku zawodu zaciągnąwszy się do kadr konserwatywnych, wierny im pozostał do śmierci. Można się było z nim nie zgadzać w poglądach ale trzeba mu przyznać konsekwencyę, wytrwałość i czujność. Pragnął po swojemu korzystać z każdej chwili i wnet obmyślał po temu środki, a piórem wnet je popierał. Można zarzucić nieboszczykowi nadmiar ambicyi polityczno-społecznej, ale była ona następstwem temperamentu dziennikarskiego, pragnącego gorąco pracy, a żadnego ujrzenia owoców tej pracy. Nieboszczyk miał dziwną łatwość pióra, a jednocześnie, co jest rzadsze, przytem łatwość słowa“.

„Kraj“ petersburski w biografii zmarłego tak mówi:

Nie była to natura gorączkowo czynna, ani energia w stanie ciągłego napięcia. Na mohortowem siodle byłoby mu również za twardo i.. za nudno. Był to prawdziwy syn „wieku nerwów“, wieku, w którym okoliczności paraliżują lub potęgują wolę. Zabójczo oddziaływała na niego cisza, szarość i mgła. Ale za to każdy świeższy prąd powietrza, każdy uśmiech losu, albo też, odwrotnie, każdy błysk gromu i zasępienie chmur — wyrywały go ze stanu omdlenia i budziły do czynu. Widzieliśmy go parokrotnie w ogniu takiej próby i wynosiliśmy z niej przekonanie, że Antoni Zaleski może w pewnych warunkach odegrać w naszem życiu publicznem rolę wybitną...

KRONIKA POWSZECHNA.

*** Wiadomości społeczne i polityczne.** Przyszły prezes ministerstwa austryackiego, hr. Kazimierz Badeni, rozwija energiczne starania w Wiedniu i Galicyi o pozyskanie stosownych współpracowników. — W dniu 26 sierpnia rozpoczął obrady swoje wiec katolicki w Monachium. — Rządowi tureckiemu udało się zapobiedz wybuchowi powstania w Macedonii. Patryoci macedońscy jednak nie dali za wygrane, lecz zamierzają wysłać do dworów europejskich deputacyą, która ma przedłożyć życzenia narodu. — Pisma socyalistyczne wyrażają się z gryzącym przekąsem o jubileuszu zwycięztwa pod Sedanem. Pisma konserwatywne wyrażają wobec tego życzenie, aby rząd zapobiegł w jakikolwiek sposób „bezczeszczeniu wielkich chwil narodu“. — Rząd niemiecki i angielski wysłał do Chin kilka statków wojennych dla przeciwdziałania gwałtom dokonywanym na Europejczykach. — Sprawa ogroblenia Warty zbliża się do celu swojego. Rząd zatwierdził bowiem wreszcie z pewnemi modyfikacyami plany inżyniera Krausego.

*** Zjazdy i kongresy.** Kongres geograficzny szósty z rzędu, otwarty został w Londynie 26 lipca. — Zjazd leśników galicyjskich odbędzie się w Nadwornie w d. 1 września. — W Bordeaux odbywa się kongres badaczów języków romańskich. — W Pradze Czeskiej odbył się zjazd nauczycieli szkół elementarnych z całego kraju. — Zakończony kongres geograficzny powszechny w Londynie obrał za przyszłe miejsce zgromadzenia Berlin. — W d. 8 września rozpocznie się międzynarodowy kongres rolniczy w Brukseli. — Na odbywającym się w Bordeaux kongresie lekarskim dr. Maragliano zakomunikował o nowej metodzie leczenia suchot. — Doroczne zgromadzenie brytyjskiej Asocyacyi medycznej, liczące 60 sekcyi z 16,000 członków, zgromadziło w Londynie 6000 uczestników. — Zjazd aptekarzy polskich odbył się w Poznaniu w bieżącym tygodniu i zgromadził znaczną liczbę uczestników i uczestniczek.

*** Teatr i muzyka.** Między kandydatami na opróżniony przez śmierć jen. Karandiejewa urząd prezesa teatrów warszawskich wymieniają gubernatora kaliskiego, jen. Petrowa i zmoskwiczonego Polaka, szambelana Bujno. — Obiegają pogłoski w Poznaniu, że oprócz artystów wymienionych w feljetonie dzisiejszym, opuszczają scenę poznańską pani Łaska i pani Jakubowska. Miejsce panny Wróblewskiej zajmie początkująca artystka p. Paszkowska. — Dramat Wł. Rabskiego p. t. „Zwyciężony“ przełożony już został na język czeski i doręczony dyrekcyi praskiego teatru narodowego. Teatr lwowski wprowadza ten dramat na deski w początkach zimowego sezonu. Z teatrem krakowskim i warszawskim toczą się również pertraktacye w sprawie wystawy jeszcze przed końcem bież. roku. — Jeden z warszawskich teatrów przyjął do repertuaru swojego komedyę oryginalną napisaną przez kobietę. Jest to 4-aktowa sztuka p. t. „Na łasce losu“ p. panią Grot-Bączkowską. U nas prócz pani Zofii Mellerowej żadna jeszcze kobieta nie sięgała podobno po laury Moliere'a i Fredry. — Zygmunt Noskowski pracuje nad operą p. t. „Livia Quintilia“. Libretto przerobione zostało z dramatu St. Rzętkowskiego pod tymże tytułem. — Komisya teatralna krakowska odmówiła pozwolenia na podwyższenie ceny na widowiska operowe i takowych na jesień zaniechano. — Laufs wystawił w Berlinie nową krotochwilę p. t. „Der grosse Komet“.

Odpowiedzi Redakcyi.

T. T. Oceniamy pobudki pańskie, ale poruszenie tej sprawy w chwili obecnej nie odniosłoby pożądanego rezulatu. Tu koniecznym jest podkład aktualny i dla tego głos wtedy dopiero zabierzemy, gdy sprawy bieżące nasuną odpowiednią sposobność.

7. 7. 7. Nadesłana nowelka „Marzyciel“ nie przedstawia prócz stylu poprawnego żadnych zalet literackich. Radzimy dużo czytać i dużo obserwować, a potem dopiero próbować sił swoich w dziedzinie powieściowej.

Ż. Energiczny ton listu pańskiego jest conajmniej niestosowny. Redaktorowi należy się przynajmniej raz na rok odpoczynek, ztąd zwłoka w odpowiedzi. Nadesłanego artykułu dla braku warunków literackich drukować nie możemy.

O. O. 1) Zamieścimy w jednym z najbliższych numerów. 2) Nazwiska bez pozwolenia autora zdradzić nie możemy. 3) Polecamy utwory Ibsena w zbiorowem wydaniu Reklama, (4 tomy). Odznacza się ono taniością i elegancyą.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 36. Poznań, Niedziela 8. września 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Prasa a publiczność.

I.

Z mileszewską sprawą łączy się jeden fakt znamiennej natury, rzucający dziwne światło na stosunek publiczności do prasy poznańskiej, — fakt, odsłaniający nietylko próchno moralne pewnych warstw społeczeństwa naszego, lecz nawołujący energicznie tych, którzy na dziennikarskim trójnogu królami opinii się mienią, by zarządzili sumienny rachunek sumienia i zbadali dokładnie, czy gonty i belki, podtrzymujące powagę prasy, nie zgniły. Wiadomo wszystkim, że gromy czasopism poznańskich, rzucane na tłumy ziemian, pukających do wrót kolonizacyi, od lat już wielu nie wywierały żadnego skutku. Błyskały one jak pioruny teatralne, lecz nie zabijały w opinii; z czasem nadomiar pojawił się w społeczeństwie zrazu cichy, potem coraz głośniejszy paradoks, że „obowiązkiem urzędowym prasy potępiać kolonizatorów, lecz słuchać głosu potępienia obowiązkiem nie jest“. Czytano z uśmiechem satyry na „kurczycieli Ojczyzny“, a ostatecznie rozgrzeszano wszystkich — pogromców i pogromionych — logicznym łamańcem: „Prasa musi krzyczeć, ale prawdą a Bogiem krzyk ten nie wytrzymuje objektywnej krytyki“.

W ostatnich dopiero czasach zaszedł fakt, świadczący pozornie o zwycięztwie prasy nad zdemoralizowaną opinią. Pod energicznem naciskiem dzienników poznańskich zadrzeli aktorzy mileszewskiej tragedyi i powstał taki potężny krzyk oburzenia w każdym nieomal zakątku biednej ojczyzny, że skruszył winowajców i ostatecznie szmat ziemi polskiej przed zagładą ocalił. Niewątpliwie jednolite i niesłychanie surowe wystąpienie całej bez wyjątku prasy naszej stało się poważnym czynnikiem zwycięztwa, — niewątpliwie pokłon się należy tym wszystkim, którzy przekleństwem i skargą bolesną cucili zdrętwiałą opinię, piętnując występny handel ludzi, wyposażonych nędzną etyką kramarską, — ale zdaje nam się, że myli się ten, kto z tego oderwanego faktu wysnuwa ogólne wnioski o patryarchalnej powadze prasy poznańskiej i dominującym jej wpływie na społeczeństwo. A przecież na ten temat mówiono i pisano u nas nie mało, a przecież wraz z okrzykiem „Mileszewy ocalone!“ brzmiał okrzyk drugi o zwycięztwie „siódmej potęgi świata“. Jeżeli jednak zważymy, że dziennikarskie wołania o upamiętanie trwają od lat kilku bez przerwy, jeżeli zważymy, ilekroć głos prasy przebrzmiał bez echa, jeżeli uwzględnimy dalej ową wyżej scharakteryzowaną paradoksalną ocenę wszelkich nawoływań dzienników, — to nasunąć się musi przypuszczenie, że w rozbudzeniu opinii z okazyi handlu mileszewskiego jeszcze inne, nie mniej poważne czynniki odegrały rolę wybitną. Zapisać tu należy przedewszystkiem fakt, że sprzedaż Mileszew w galeryi typów kolonizacyjnych wyjątkowem uderza obliczem, bo tu nie „przymus materyalny“, nie „ratowanie resztek“, nie wzgląd na „zawiedzionych w swem zaufaniu i do żebraczego kija sprowadzonych wierzycieli“, lecz najpospolitsza spekulacya była motorem kupczenia. I odbyła się ta cyniczna frymarka z takim aparatem podstępów i komedyanckiej mimiki, że musiałoby chyba społeczeństwo być z kamienia, gdyby nie znalazło gromu na aktorów mileszewskiej tragedyi. A zważyć nadto wypada, że znalazły się wśród handlującej rodziny jednostki zdrowe i uczciwe, które nie zawahały się ani jednej chwili wprawić w ruch wszystkie sprężyny, aby zmazać hańbę krwi własnej, — zapominać nie wolno, że wśród tych hamulców familijnej rozpusty zjawił się prof. Wicherkiewicz z energicznym protestem i głośnym okrzykiem: Do odwrotu! Wszystkie te czynniki współdziałały agitacyi prasy i przyczyniły się do ożywienia bezdusznej opinii, — do kapitulacyi winowajców. Z tego więc powodu lśniące apoteozy „zmartwychwstającej“ powagi dziennikarstwa i „odzyskanego“ wpływu na społeczeństwo uważamy za przedwczesny optymizm, a w przekonaniu tem umacnia nas epilog smutnej awantury. Jakaż to bowiem nagroda spotkała „siódmą potęgę świata“ za jej patryotyczną akcyę ratunkową, — jakiż to wieniec uwito jej za „ocalenie“ Mileszew?!

Zięciowie i córki ś. p. Ignacego Łyskowskiego, spadkobiercy zagrożonego majątku, ogłosili manifest z słowami potępienia dla prasy poznańskiej i zachodnio-pruskiej z powodu jej krytyki, obejmującej wszystkich pośrednich i bezpośrednich bohaterów mileszewskich. Odważono się rzucić obelgi w twarz dziennikarstwa za jego czyn narodowy, za mozolne gromadzenie materyałów, za budzenie uśpionego honoru, za odważne zdarcie zasłony z kupczących faryzeuszy. Skorzystano z drobnych nieścisłości, opartych na logice prawdopodobieństwa, by głośnem piętnowaniem prasy odwrócić uwagę od jądra nieszczęsnej sprawy, — od winowajców istotnych. A dziś? Dziś pono krąży wśród obywatelstwa wiejskiego manifest drugi, zawierający nowe potępienie dziennikarskich szermierzy, — manifest zaopatrzony w setki „poważnych“ podpisów. Oto wdzięczność społeczeństwa dla stróżów opinii publicznej, oto korona laurowa, wieńcząca skronie patryotycznej prasy, oto szacunek dla „siódmej potęgi świata“.

Odpowiednia krytyka takiego postępowania zaczyna się tam, gdzie parlamentaryzm się kończy. Jestto cyniczne szukanie kozła ofiarnego dla ocalenia resztek czci naszarpanej, — jestto akt brutalnej niewdzięczności dla obrońców sprawy narodowej, — jestto zuchwalstwo świadczące poniekąd o zatracie zmysłu moralnego, — ale pytamy się z drugiej strony, kto ośmielił tych ludzi, że z sztucznem oburzeniem i uśmiechem szyderstwa na twarzy rzucają tam kamieniem, gdzie błogosławić powinni, — kto winien, że powaga prasy w proch się potoczyła i urągać jej wolno bezkarnie? Uderzmy się w piersi, — nikt inny jeno prasa sama.

Podobno Kaźmierz Jarochowski, proszony krótko pozed śmiercią przez redakcyę jednego z czasopism warszawskich o napisanie krytycznej oceny dziennikarstwa poznańskiego, odparł z sarkastycznym uśmiechem: „Nie lubię biurka mojego zamieniać na prosektoryum anatomiczne, bo nie znoszę zapachu zgnilizny“. Smutne to słowo, za ostre może, lecz ileż tam prawdy! Smutne wyznanie, a przecież złożyć je trzeba, chcąc gmach narodowy przed dalszem gniciem uchronić. Bo pomijając już ten fakt nieuchronny, że poziom intelektualny prasy naszej codziennej znacznie się obniża, a tem samem i wpływy jej kurczyć się muszą, to poziom moralny, ocena czynów i ludzi, jest tu nader często podeptaniem wszelkich prawideł uczciwości.

Rozpatrując wszystko przez pryzmat koteryi, staje się nasze dziennikarstwo najfałszywszym wartomierzem, płaszczykiem brudów niejednych, fabryką simili-brylantów społecznych, pręgierzem ludzi o najszlachetniejszych, choć odmiennie zabarwionych dążnościach. Wobec takiego zamulenia dziennikarskich krynic, wobec przedpokojowo-tapicerskiej uprzejmości dla wpływowych miernot a dzikiej prokrustowej złośliwości dla indywidualności silnych, do koteryjnego szablonu nie przystosowanych, rozprasza się szacunek publiczności poznającej w mentorach tylko siebie lub siebie w karykaturze. Tej myśli postaramy się dać wyraz w artykule następnym, a dziś do skarg i lamentów nad wybrykiem Mileszewskich rycerzy i kliki usłużnej rzucamy stare, przysłowiowe Memento: „Szanujmy siebie, jeżeli pragniemy, by szanowali nas inni“.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

Wobec twierdzenia niemieckich gazet górnoszląskich, że księża są „urodzonymi przywódzcami ludu“, a zatem wyborcy ślepo ufać im powinni, takie zamieszcza uwagi „Gazeta Opolska“ (nr. 70):

„Być może, że miano urodzonych przewodników ludu pochodzi z czasów „kulturkampfu“. Walczono wtenczas wspólnie w obronie drogiej nam wszystkim wiary św.; walczono o dobroć i całość opoki Piotrowej, o swobodę kościoła katolickiego, ale walczono przecież przy tem wszystkiem i o własną skórę. Nie trzeba zatem przesadzać i do bohaterstwa wynosić, co było świętym obowiązkiem wszystkich. Pojedyńczych i wyjątkowych czynów i zasług bohaterskich nie mogą sobie wszyscy przywłaszczać. Nie wszyscy też „urodzeni“ przewodnicy objawili tę bohaterskość, jak ją objawił wszystek lud. A przecież lud nie dmie tak w te swoje zasługi i poświęcenia, jak te niemieckie gazety, które ludowi, wówczas niejednokrotnie samodzielnie i za najlepszym głosem sumienia idącemu, dziś wszelkiej samodzielności odmawiają, a na „urodzonych“ przewodników wskazują.

Dziś czasy zupełnie inne. Tak jak w „kulturkampfie“ sprawa Kościoła św. była mianowicie i w pierwszej linii palącą, tak dziś ma się rzecz ze sprawą ekonomiczną, gospodarczą, ze sprawą chleba, a przytem ze sprawą narodową, która na dobrej ekonomicznej podstawie opierać się powinna.

Dla tego nie spuszczając z jednej strony spraw Kościoła pod żadnym warunkiem z oka, nie możemy z drugiej strony żadną miarą godzić się na to, aby według życzenia niemiecko-katolich gazet losy nasze społeczno narodowe składać jedynie w ręce wskazanych przez te gazety „urodzonych“ przewodników, bo większa część tych przewodników naszych społeczno-narodowych interesów nie zna, nie rozumie albo też rozumieć nie chce.

Kapłan w zakresie swej działalności kościelnej jest kapłanem i nikt mu też szacunku i czci przynależnej odmawiać nie chce; w polityce jest on takim samym obywatelem, jak pan, chłop, robotnik.

Urodzonym, a raczej prawowitym przewodnikiem ludu i narodu jest tylko ten, kto sercem, rozumem i czynem umiał zdobyć sobie zaufanie i wybitne znaczenie w społeczeństwie swojej narodowości, nie ten, który tę lub ową poważniejszą godność piastuje.“

Z powodu sprawy mileszewskiej i odnośnego artykułu „Orędownika“ p. t. „Rozpusta w patryotyzmie“ takie wypowiada zdanie „Gazeta Toruńska“ (nr. 202):

„Jeżeli jest „berbelucha“ w społeczeństwie, wina to tych, którzy dzierżąc od lat kilkudziesięciu berło opinii publicznej, wychowali politycznie i moralnie obecne pokolenie.

Głównym ich grzechem było, że „z patryotyzmu“ (!!!) osłaniali wszelkie nieczyste sprawki, patrzeli spokojnie, jak w instytucyach finansowych zaprzepaszczano lub wprost rozkradano potem i głodem przez lud zarobione grosze, a gdy kto inny śmiał wystąpić przeciw nadużyciom, piętnowali go jako burzyciela, oszczercę, samoluba, jak dziś obrońców Mileszew. Ztąd poszło, że nietylko kolonizatorzy, lecz ludzie karani za brudne sprawy mogli społeczeństwu prawić o patryotyzmie, uczciwości, honorze i moralności. Nie dziw przeto, że wytwarza się tu i owdzie szczególne pojęcie o moralności i honorze.

Człowiek, którego w sprawie mileszewskiej wskazywano jako „mentora“ pewnej polskiej spółce, (bardzo biednej, odpisano członkom z udziałów 96 procent) winien jest przeszło 1000 marek, a od lat dziesięciu nie płaci nawet procentów. Pupil wie o niesumienności swego mentora, bo starał się uchronić go przed egzekucyą, reklamując dla siebie zabrane przedmioty.

Gdzie kierownicy opinii publicznej spokojnie patrzą na podobne sprawki ludzi przyjmowanych w przyzwoitych domach, tam zaprzedanie Mileszew nie może zadziwiać.

Jeżeli społeczeństwo nasze nie ma zejść na „towarzystwo szubrawców“ a potem zginąć marnie, należy z jego organizmu pousuwać wrzody i oczyścić powietrze, którem oddychamy. Ku temu powinni sobie podać rękę ludzie uczciwi wszystkich stanów, zawodów i przekonań politycznych. „Czas zawrócić, ale to na miejscu“!“

Korespondent bydgoski „Dziennika Kujawskiego“ donosi w nr. 201:

„Miasto nasze zostało uszczęśliwione nową gazetą polską. Oto rozsyłano dziś na okaz „Gazetę Bodgoską“ — której redaktorem jest znany p. Stanisław Tomaszewski. W rzeczy samej jest to odbitka „Gońca Wielkopolskiego“. Trzy strony drukują się w Poznaniu, a czwata z ogłoszeniami w Bydgoszczy. „Gazeta Narodowa“, odbitka z „Orędownika“, także będzie nadal wychodziła.“

„Goniec Wielkopolski“ (nr. 203) tak wypowiada swój żal z powodu udziału Polaków w jubileuszowych festynach sedańskich:

„Pięknych to doczekaliśmy się czasów! ani słowa! Któżby to przed dziesięciu nawet laty był przypuścił, że potomkowie tych wojowników, którzy gromili wrogów Słowiańszczyzny na Psiem Polu i pod Grunwaldem — dzisiaj dobrowolnie święcą tryumfy oręża germańskiego nad katolickim narodem.

Powtarzamy, że przed laty dziesięciu, a nawet pięciu, żaden Polak w zaborze Pruskim nie byłby odważył się na to, żeby dom swój czy to wieńczyć, czy oświecać w rocznicę, która sercu polskiemu nie może być miłą — a musi być bolesną, bo przypomina, że wiele krwi polskiej znowu nie za polską przelało się sprawę — że przelew krwi tej nawet nie ulżył uciśnionemu narodowi.

Czasy dziś inne — ale gorsze, bo duch narodu zatruty, bo coraz więcej jednostek owianych duchem utylitarno-lojalnym korzy się przed molochem państwowym, zapierając się własnej idei narodowej.

To też bez wahania umieszczamy smutne nowiny, jakiemi nas czytelnicy obdarzają, a niecne postępki te poddajemy pod sąd społeczeństwa, które w gronie swem nie chce widzieć podobnych „Polaków“.

Po takiej przygrywce bolesnej wymienia „Goniec Wielkopolski“ cały szereg miejscowości, (Wągrówiec, Międzychód, Mosina, Koronowo, Jeżyce, Gniezno), w których nietylko jednostki polskie, lecz całe towarzystwa polskie brały udział w obchodach sedańskich.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Slovenski Narod“, organ partyi młodosłowińskiej takie podnosi zarzuty przeciw duchowieństwu słowińskiemu z powodu indyferentyzmu narodowego:

„Cały świat wie o tem, że duchowni nasi redagujący „Slovenaca“ otaczają się czemś w rodzaju niedotykalności i sądzą o sobie, że wszystkie rozumy pojedli. Przytem posiadają tę zarozumiałość, iż uważają się za wyższych aniżeli ich konfratrzy w dyecezyach istryjskiej i karyntyjskiej. Nasz artykuł, w którym podaliśmy krytyce sprawiedliwej działalność biskupa lublańskiego dr. Missia i jego funkcyonaryuszów, wywołał wśród zwolenników tegoż ogromne oburzenie i sprowadził na nas straszliwe gromy. „Slovenac“ oburza się, iż chwalimy duchowieństwo nasze w Istryi i Karyntyi, a ganimy duchownych w Krainie i nazywa nasz artykuł bezwstydną napaścią na osobę księcia-biskupa.

„Duchowieństwo patryotyczne nazywa się w tym organie gladyatorami, kompromitującymi sukienkę duchowną.

„Karyntyjscy i istryańscy duchowni są rzeczywistymi opiekunami ludu słowińskiego, wasze duchowieństwo jego demoralizatorami, którzy lud nasz uczą, iż nie są Słowińcami, lecz katolikami.

„W Karyntyi i Istryi niema duchownego, któryby polował na tłuste prebendy. Tam księża nie zapominają nigdy, co winni sukience duchownej, swoich przeciwników nie oczerniają, brzydzą się oszczerstwem, czego o was powiedzieć nie możemy. Mają oni nad sobą biskupów wrogich ich działalności na polu rozbudzenia ducha narodowego, którzyby nie darowali jednego przewinienia nie licującego z ich stanem.

„W ich piersiach biją szczere serca słowińskie, tego nie zmienią tamtejsi biskupi oddani ciałem i duszą naszym wrogom nieprzejednanym: Niemcom i Włochom.

„Slovenac“, który jest pismem niezawisłem, ani słowem nie zganił niesprawiedliwości i gwałtów, dokonywanych na ludzie słowińskim i jego prawach przez tamtejszych biskupów, Kahna i Flappa.

„Niechaj nasze duchowieństwo dowie się

Marya Komornicka.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

LEON.

Skąd ta pewność?

WANDA.

Mocą wpływu, jaki ma nademną.

LEON.

Skąd wiesz pani, że na drugich podobnie wpłynie?

WANDA.

Nie wiem, czy wpływa, wiem — że powinno.

LEON.

Ale co? Co?

WANDA.

Wielkość.

LEON.

Twego talentu?

(*Wanda wzrusza ramionami*).

LEON (*gorzko*).

Masz mnie już pani dosyć?

WANDA.

Przypominam panu swobodę nie odpowiadania zwłaszcza na podobne pytania.

LEON.

Bądź pani lepszą odemnie i rozwiąż męczącą mnie zagadkę. Czem jesteś?

WANDA (*myśli długo*).

Nie wiem.

LEON (*szyderczo*).

Pani nie wiesz?

WANDA.

Czy to tak dziwne? Im większa suma wewnętrznych zjawisk naszych staje się nam świadomą, tem trudniej w tym chaosie sprzeczności zdobyć się na syntezę. W pogoni za syntezą analizujemy się często.

LEON (*zamyślony*).

Ten sam chaos sprzeczności dostrzegam w pani... Lecz najczęściej wydajesz mi się istotą potężną, lecz ujemną...

WANDA (*śmieje się*).

Głodną władzy i rzucenia dusz bratnich w piekło wiecznego potępienia.

LEON (*nagląco, badawczo*).

A jakim jest cel pani?

WANDA (*prawie namiętnie*).

Żyć z jak największem natężeniem, jak najwięcej czuć, pragnąć, działać! Jak najwięcej i najgłębiej myśleć, zawsze się rozwijać, dążyć do najwyższego stopnia duchowego rozwoju!

LEON.

Więc nie — żyć jak najpożyteczniej?

WANDA.

Żyć, jak mówiłam, to już pożytecznie.

LEON (*z zadumą*).

Wiele czuć, to najczęściej cierpieć.

WANDA.

Przyjmuję cierpienie w imię życia i rozwoju.

LEON.

Nielogiczne. Cierpienie jest przeciwne naturze.

WANDA.

Cierpienie jest zgodne z naturą, kiedy jest jednem z jej zjawisk.

LEON.

Lecz tamuje rozwój.

WANDA.

A jednak do pewnego czasu zdolność cierpienia i jej stopnie muszą być atrybutem, a nawet niekiedy kryteryum rozwoju.

LEON.

Do czasu.

WANDA.

W którym archanioł otworzy ludzkości wrota raju, pozwalając jej za nieskończoną mękę niezliczonych pokoleń używać wszelkich rozkoszy i zrywać owoce zarówno z drzewa życia, jak wiadomości.

czego spodziewać się można po organie naczelnym naszych klerykałów".

* * *

„Srbobran", organ Serbów, mieszkających w Chorwacyi, pisze:

„Niegdyś śpiewano u nas o „junakach i krasawicach" w wszystkich siedmiu królestwach serbskich, dziś śpiewamy o rządach siedmiorakich, pod jakimi żyją Serbowie. Z jedynym wyjątkiem Czarnogórza i królestwa serbskiego żyjemy wszędzie pod uciskiem, w Turcyi, Bośni, Hercogowinie, Dalmacyi, Chorwacyi, Sławonii i na Węgrzech.

„W Turcyi występują przeciw nam wrogo rządy sułtańskie, w Bośni i Hercogowinie Niemcy, na Węgrzech Madziarzy, w Dalmacyi Niemcy i Włosi, w Chorwacyi Chorwaci. Mimo to biorąc na uwagę, cośmy dotychczas zdziałali, nie trzeba nam tracić odwagi. Słowacy mają wogóle 20 szkół narodowych, my ich mamy 200. Posiadamy trzy serbskie seminarya nauczycielskie, jednę wyższą szkołę dla dziewcząt, mamy dwa gimnazya klasyczne, narodowe fundusze, bogate klasztory, Maticę serbską oraz liczne instytucye finansowe.

„Posiadając takie środki moglibyśmy wiele zdziałać dobrego. Niestety organizacya nasza chroma pod niejednym względem. Stoją u nas na czele ludzie, którzy zadaniu nie dorośli, mamy na stanowiskach najwyższych ludzi niezdolnych, jak to mówią „do konja i do koplja (kopii) bojnago". Chcąc coś zdziałać trzeba nam niejednę przeprowadzić reformę i niejedno złe naprawić".

* * *

Czeskie „Narodni Listy" piszą:

„Na zebraniu przedwyborczem w Orlicach rozwijał swój program dr. Podlipny, uzasadniając, iż główną zasługą stronnictwa wolnomyślnego jest, iż obalono punktacye i postawiono na porządku dziennym kwestyę państwową ziem korony czeskiej. Co się tyczy tego, jakie zajmować będą w przyszłości stanowisko Młodoczesi, na to odpowiedź jest jasna: pozostaną w opozycyi do rządu, który opierać się będzie na centralizacyi i nie uzna praw korony świętowacławskiej. Rozumie się samo przez się, iż nie może być mowy, aby Młodoczesi weszli w skład większości rządowej, a to tem mniej, że całkiem niewiadomo, jaką ta większość będzie.

„Stronnictwo, nakłaniające się ku zgodzie za każdą cenę, nie zdobędzie się nigdy na energią. W Czechach straciłoby ono natychmiast zaufanie u ludu. Rząd widząc, jak wytrwale bronimy naszych zasad i programu, mając to przekonanie, iż od nich nie odstąpimy, musi wobec nas zająć stanowisko jasne, albo zgodzić się na nasze żądania, albo dalej prowadzić z nami walkę".

D. K.

* *

„Nowoje Wremia" o broszurze hr. Leliwy.

Wydanej w Lipsku książce hr. Leliwy: „Russko-polskija otnoszenja", poświęca „Now. Wr." artykuł, który rozpoczyna od zaznaczenia, że z mnóstwa cytat i dokumentów oficyalnych sądząc, autor rozporządzał najwidoczniej obfitym materyałem sekretnym, mało komu dostępnym. Wobec tego możnaby przypuszczać, że książka przedstawi obraz okrucieństw, swawoli i gwałtów, od których europejskim czytelnikom powstaną włosy na głowie: zakordonowi bowiem publicyści — według „Now. Wrem." — przedstawiają zazwyczaj postępowanie Rosyi względem Polaków, jako coś w rodzaju znęcania się Turków nad Ormianami. Tymczasem książka, wbrew intencyom autora — pisze „Now. Wremia" — sprawia wcale inne wrażenie:

„Odczytując długi szereg prawodawczych środków i rozporządzeń administracyjnych ruskiego rządu w stosunku do Polski i kraju zachodniego i zastanawiając się nad niemi, mimowoli zapytujemy, zkąd pojawiły się zagraniczne komentarze o mniemanych okrucieństwach Rosyan na przestrzeni 19 guberni ruskich zachodnich kresów. Rozumie się samo przez się, że prawodawcze i administracyjne działania rządu rosyjskiego w tym kraju pozbawione są sentymentalizmu; (!) lecz dla każdego nieuprzedzonego czytelnika książki hr. Leliwy staje się zrozumiałym zasadniczy i główny cel wspomnianych środków — mianowicie zaszczepienie spokoju w kraju: (!) owo zaś uspokojenie może być osiągnięte tylko jedyną drogą — niezmiennością i systematycznością środków, skierowanych ku zachowaniu politycznej jedności cesarstwa. W środkach tych możliwe są pomyłki, oddalające od głównego celu; przecie sens i znaczenie ich w oczach wszystkich, wychowanych politycznie ludzi, jest prawidłowy i sprawiedliwy".

Wskazując w dalszym ciągu nieracyonalność takiej polityki, która karmiłaby „marzenia polityczne Polaków", „Now. Wrem." mówi:

„Skoro polski naród utracił swój byt polityczny nie z przyczyn zewnętrznych, lecz wewnętrznych, wszelkie pobłażanie dla politycznych tendencyi Polaków jest zbrodnią w stosunku nietylko do Rosyi, lecz i do całego międzynarodowego świata, ponieważ Polacy wchodzą w skład trzech potężnych, europejskich mocarstw. (!!) Jeżeli w Rosyi nie wszyscy pojmują to dokładnie, to w Europie wiedzą dawno, co kosztują historye próby wskrzeszania martwych ciał politycznych".

Autor artykułu w „Now. Wrem." znajduje w książce pana Leliwy jeden „zuchwały fałsz", „insynuacyę", że Rosyanie w Polsce mają na celu widoki nietylko polityczne, lecz i religijne:

„Ponieważ jednak autorowi brak faktów prześladowania katolików świeckich, więc wystawione są na przedni plan środki, stosowane przez rząd względem polsko-katolickiego duchowieństwa. Tu jednak przedewszystkiem narzuca się pytanie, dla czego w Rosyi, gdzie wszystkie religie, nie wyłączając niechrześciańskich, korzystają z zupełnej swobody, (?) skargi na ucisk słychać tylko ze strony duchowieństwa katolickiego i przytem tylko polsko-katolickiego? Dawno jest wiadomem, gdzie leży węzeł wszystkich tych skarg. Śród polsko-katolickiego duchowieństwa jest wiele osób (jeżeli nie większość), niechcących ograniczać się stosunkami religijnemi ze swojemi owieczkami, a mięszających się ciągle w sferę stosunków politycznych. „Da ist der Hund begraben", i autor „rusko-polskich stosunków" obchodzi ten punkt starannem milczeniem, dokładnie pojmując, że żaden europejski kraj — czego wybornym dowodem służyć może niemiecki kulturkampf — nie będzie ganił Rosyi za chęć zagrodzenia innowierczemu duchowieństwu możności mięszania się do spraw politycznych. Właśnie li tylko dla tego jedynie śród polsko-katolickiego duchowieństwa dają się słyszeć skargi na ucisk władz rosyjskich, że tętniła w niem i tętni dotąd żyłka polityczna, że ono pod pokrywką dochowywania różnych religijnych obyczajów i t. p., wciąż jeszcze stara się przypominać polskiemu narodowi o jego minionej niezależności".

Jest to — zdaniem „Now. Wrem." — starodawna polityka katolicyzmu polskiego, przeciw której bronić się musi naród, którego cerkiew nie zna, co to jest duch prozelityzmu. Artykuł swój kończy „Now. Wr." w te słowa:

„Należy wyznać jednak, że niektóre karty książki p. Leliwy tchną szczerością; wiemy, że w polskiem społeczeństwie powstało już kółko ludzi rozsądnych, którzy porzuaili dawne nieziszczalne marzenia wskrzeszenia polskiej niezawisłości i domagają się tylko „zachowania narodowo-plemiennego życia i zabezpieczenia narodowo-plemiennego bytu". Jeżeli należy pojmować pod tem zachowanie przez naród polski jego wiary, bytu i literatury, to na nie nigdy nie czynił zamachu ani rząd, ani naród ruski. (?) Żądamy znajomości języka ruskiego, lecz nie od Polaków tylko, a również i od Niemców

---

LEON.

Może masz pani złudzenie, że się przyczyniasz do otworzenia bram raju?

WANDA (*znużona*).

Kto wie?

LEON (*gorzko*).

W raju miałabyś pani racyę bytu; byłabyś jedną rozkoszą więcej dla szczęśliwych. Lecz tutaj, na ziemi rozpaczy, nędzy i zgrzytania zębów...

WANDA (*gorzko*).

Jestem świecidłem na ciele Łazarza.

LEON (*gorąco*).

Więc bądź pani czemś więcej! Pani, gdybyś chciała, z swą energią i rozumem uczyniłabyś tyle!

WANDA.

Kto wie, czy mogę być czem innem niż jestem?

LEON (*niecierpliwie*).

Powinnaś chcieć!

WANDA (*gorzko*).

Niech wola moja każe mi czynić to, na co we mnie narzędzia... Niech wola moja odwróci energię twórczą ku pracy praktycznej, codziennej... Tego chcecie przecie!

LEON.

Tak!!

WANDA (*gorzko*).

Wszak to nic trudnego! Jeżeli ruch przejść może w ciepło i elektryczność, dla czego kompozytorstwo nie miałoby się zamienić w medycynę lub szorowanie rondli!

LEON (*niespokojnie*).

Jam panią zranił, pani Wando!

WANDA (*gorzko*).

Byłbyś dopiął swego, lecz tak nie jest. To zarzut świata... do którego ty należysz (*jak do siebie*) Być zabawką... z taką łatwością i na tak daleką metę, gdy wokoło tyle naglących potrzeb, wołających natychmiastowego zaspokojenia, i tyle trudu, wypełnianego w pocie czoła...

LEON (*z radością*).

A! pani zaczyna myśleć jak my!

WANDA (*niespokojnie*).

Kiedy ja myśleć będę inaczej, jak *ja?* (*wstaje*).

LEON (*z żalem*).

Już?

WANDA.

Kawa wypita. Pierwszy raz udało nam się pół godziny spędzić w zgodzie.

LEON.

Więc ją przedłużmy!

WANDA (*z gorączkowo błyszczącemi oczyma*).

Będę grać!

LEON (*nalegając*).

Kiedy znów dobrze o pani pomyślę?

WANDA (*błędnie*).

Myśl pan co chcesz... nie przerywaj...

LEON.

Czego?

WANDA.

Tonów... chaosu tonów... (*wybiega*).

LEON (*zgrzyta zębami*).

Talent to potwór!

(*Chodzi wzdłuż pokoju, muzyka odzywa się w dali. — Wściekle*).

Gra!... Niechże gra do syta!...

(*Wchodzi Rózia — lat 14*).

RÓZIA.

Gdzie pani Wanda?

LEON (*szorstko*).

Czego chcesz od niej?

RÓZIA.

Poproszę, żeby grała...

LEON.

Nie chcę byś słuchała!

RÓZIA (*zawistnie*).

Wiem, że jej nie cierpisz! (*nadsłuchuje*). Ona już gra... (*zrywa się i ucieka*).

LEON (*patrzy za odchodzącą*).

I to także jej ofiara... (*oburzony*) Lecz ja słuchać nie będę! Ja się nie dam!... Przeklęta!... (*wychodzi*).

* * *

(Obszerna, pusta, biała sala; u okien pomarańczowe firanki, pod ścianami naokoło białe nizkie kanapy. W rogu poprzecznie postawiony ogromny fortepian. Naprzeciw ściany, której róg zajmuje fortepian, gęsto

nadbałtyckich; przecie nie znaczy to, abyśmy żądali, by Polak, Niemiec i t. p. przestał być Polakiem lub Niemcem. (?) Dobrze wiemy, że jeżeli jest to możliwe, to tylko w drodze chemicznego rozpuszczenia się małoliczebnej narodowości w wieloliczebnej i to jedynie w ciągu wieków, oraz, że żadne środki zewnętrzne tej sprawie nie dopomogą. Przeto ograniczamy się tylko wzmocnieniem państwowych więzów Rosyi z kresami; na tej drodze powinniśmy być niezachwiani".



O „Rodzinie Połanieckich".

(Ciąg dalszy.)

Zaraz dalej mówi o nim Sienkiewicz jako o człowieku „duchowo tęgim raczej, niż słabym" (I 93). „Połaniecki czuł — czytamy znowu — że po za robieniem pieniędzy musi być jakiś cel, jakieś zadanie poważne, które spełnione w sposób cny i prosty, prowadzi do uspokojenia duchowego... Od współczesnych dekadentów różnił się tem, że się nie rozlubował w sobie, w swoich nerwach, w swoich zwątpieniach, w swoim duchowym dramacie i że nie dał sobie dyspensy na niedołęstwo i próżniactwo. Miał przeczucie, że życie musi być wypełnione szeregiem prac i czynów — że prawem natury ludzkiej i przeznaczeniem... założenie rodziny i praca społeczna" (I 95 i 96). Jeszcze później w tym samym tomie, kiedy Połaniecki posiada jeszcze wszystkie sympatye czytelnika, mówi sam Sienkiewicz o jego „istotnie niezaprzeczonej wartości" i o jego „woli istotnie silnej, gotowej porwać się do walki z trudnościami i podruzgotać je" (I 173).

Poprzestanę na tych cytatach, które stwierdzają, iż w założeniu autora Połaniecki miał być typem i charakterem dodatnim, pewnym ideałem, więcej wprawdzie realnym i zastosowanym do dzisiejszych warunków życia, więcej posiadającym wad i ułomności, niż to „wymarzonemu ideałowi" przystało, ale też więcej prawdziwym, bardziej ucieleśnionym, niż zwykłe ideały powstałe z fikcyi i fantazyi autorskiej. Dalsze dzieje Połanieckiego wykazują, że ten ideał się popsuł, zamienił się w typ i charakter ujemny, a co najmniej w miernotę, w zwykłego filistra o poziomych pragnieniach i ciasnych pojęciach. Autor go poświęcił dla Zawistowskiego, Castelki, Broniczowej i dopiero przy końcu spostrzegł jak z bohatera jego spadły wszystkie idealne osłonki. Chciał złe naprawić, chciał go wytłomaczyć, uniewinnić przed samym sobą, czytelnikiem i Marynią. Z tą ostatnią poszło mu najłatwiej, bo naprzód miłość jest ślepą, a następnie Sienkiewicz ukrył przed Marynią wiele z tego, o czem wie czytelnik; co do Maszkowej np. miała ona tylko chwilowe podejrzenie — a to, że oszczędził jej Sienkiewicz dowiedzenia się prawdy, należy do bardzo artystycznych i ratujących całą sytuacyę pomysłów. Ale z czytelnikiem sprawa nie tak łatwa i nie pomogą już zaręczania autora, że Połaniecki „był człowiekiem zasad" (III 380), że „wyrobił w sobie zasady, miał je" (III 210), że posiadał „pracowicie dźwignięty duchowy dom, w którym mieszkał", a w którym określony był jego „stosunek do Boga, do społeczeństwa" (III 179). I dziwnym doprawdy się wydaje jeden z ostatnich ustępów powieści, w którym Sienkiewicz tak pisze o Połanieckim: „Pamiętał jeszcze za czasów swoich belgijskich, że nawet tam w Belgii dusza ludzka i napięcie woli więcej znaczyło od najpotężniejszych maszyn. A pod tym względem liczył na siebie — i mógł liczyć. Czuł się człowiekiem uporczywym i sprężystym. Wszystko, co dotąd brał w ręce, musiało iść, czy chciało, czy nie chciało" (III 488). Chyba to jakiś inny Połaniecki, bo na tego, którego znamy, nikomu liczyć nie radzę. I Marynia z pewnością, na nim się przeliczy — nawet jednorocznej gwarancyi dać za niego nie można, bo całkiem popsuta w nim maszynerya moralna.

W streszczeniu zapatrywań samego Sienkiewicza na bohatera leży i odpowiedź na twierdzenie, że Połaniecki, choć się może nie podobać, jest sam dla siebie typem i charakterem skończonym, czyli, że jest konsekwetnie przeprowadzonym. Inny całkiem na początku, inny w środku powieści, innym był w założeniu, innym jest w wykonaniu. Żadne nadzwyczajne wypadki, żaden zbieg okoliczności nie tłomaczy jego wykolejenia się a później sztucznego i nagłego powrotu do swoich dawnych „zasad" i do swego dawnego charakteru. Jest chyba konsekwentnym w niekonsekwencyi. I pod tym względem stanowi dobraną parę z Marynią.

Tak, bo ta Marynia, budząca z początku zajęcie, przedstawiająca się jako rzadki materyał na inteligentną kobietę — obywatelkę, wyszedłszy za mąż staje się najpospolitszą w świecie istotą. Już z pierwszych kartek powieści wiemy, że całe gospodarstwo w Krzemieniu polega na jej głowie. Mówi z Połanieckim rozsądnie i serdecznie, ale przychodzi jej zaraz na myśl, że ze względu na cel jego przybycia, serdeczność jej może być poczytaną za wyrachowanie. Dobrze zrozumiana ambicya każe jej być chłodną dla Połanieckiego, a czyni to nie bez pewnej walki ze sobą samą. Stosunek jej do ojca nadzwyczaj szlachetny; zna jego wady, burzy się często z ich powodu jej umysł i serce, ale ani na chwilę nie zapomina o obowiązkach nietylko dobrej, ale najlepszej córki. Kiedy Połaniecki ją obraża, zachowuje się z godnością choć pełna jest w duszy upokorzenia i niemal rozpaczy. Przebacza jednak obrazę, składając winę postępowania Połanieckiego na jego żywość i wierząc w jego dobre serce. To też strasznego doznaje rozczarowania, kiedy Połaniecki sprzedażą swej wierzytelności staje się przyczyną utraty Krzemienia. Znowu jest pełną godności i dumy dziewiczej, kiedy spotyka się z Połanieckim w Warszawie. Z niezwykłem mistrzostwem i znajomością serca kobiecego pozbierał Sienkiewicz rysy psychologiczne tej dziwnie dotąd pięknej i zawsze będącej w zgodzie ze swem sumieniem i uczuciem postaci. Nie razi bynajmniej flirt, jakiego używa względem Maszki. Piękną jest, kiedy odrzuca jego oświadczyny, pomimo, że w danej chwili wierzy w jego szlachetność i bezinteresowność, a odrzuca jedynie dla tego, że mu serca dać nie może. Jest pełną poświęcenia, kiedy pielęgnuje Litkę. Dla romantycznych dam i panien jedną z najpiękniejszych scen w belletrystyce polskiej pozostanie ta, w której umierająca Litka odbiera od Maryni przyrzeczenie, że pokocha „pana Stacha" i wyjdzie za niego. To przyrzeczenie bierze Marysia na seryo i uważa się za narzeczoną Połanieckiego. Jako mniemana i jako prawdziwa narzeczona jest również sympatyczną, niema w niej nic przesady, wciąż jest szczerą i naturalną. Razi dopiero, kiedy jako dziecko skacze z radości na wiadomość, że wyjedzie do Włoch w podróż poślubną; tej poważnie na świat patrzącej, zdolnej do pracy i poświęceń Maryni, nie jest do twarzy ta nadmierna uciecha. Po ślubie przestaje być sobą, ginie jej energia, trzeźwość, ambicya, giną poważne cele życia, których zrozumienia przez nią mieliśmy prawo się domyślać. Odtąd Marynia myśli tylko, czy Stach ją kocha; po za jej uczuciem dla męża cały świat już dla niej nie istnieje. Raz z odcieniem smutku powiada, że „powszednieją tylko takie zwyczajne, proste istoty, które nie umieją nic innego, tylko kochać". I jest w tem powiedzeniu zupełna słuszność, jeżeli to kochanie zamyka się w ciasnym obrębie przywiązania do męża. Na taką miłość zdobywa się połowa kobiet, wychodzących za mąż z przywiązania, które się też może za to

---

obok siebie cztery weneckie okna, przez które widać olbrzymi park; rozległa łąka, stare drzewa, gąszcze krzewów; dalej w słońcu mieni się i iskrzy jezioro. U wysokiego sufitu kilkudziesięcioramienny kandelabr. Zachód słońca nad jeziorem, cała sala zalana światłem, kandelabr mieni się złotem i barwami tęczy, zapalonemi przez słońce w kryształowych, pryzmatycznych jego ozdobach. Fortepian wolny od słońca. Złocone drzwi prowadzą do pokoju Wandy (naprzeciw weneckich okien). Ze wszystkich stron, prócz tej, okna).

WANDA (*przerywa grę, spogląda olśniona ku weneckim oknom*).

Jak tu oślepiająco jasno! (*odrywa ręce od klawiszów*). Przed chwilą znużona rozmową, uczułam gwałtowną potrzebę usłyszenia się... a teraz... (*splata ręce z tyłu czaszki*). Tu za jasno, tonom w mej duszy za jasno. Światło zalewa je łagodnie i odurza... Gdyby tak położyć się na trawie i z przymkniętemi powiekami zwrócić twarz ku słońcu... (*gorzko*) patrzeć w słońce rozwartą źrenicą nie wolno... Niekiedy na chwilę! A potem, po oderwaniu się od niego, wszędzie ciemno i łzy stają w oczach... Tych, którzy słońcu pragną spojrzyć w oko płomienne, słońce oślepia; a ziemia zakrywa się przed nimi: nie mają ni ziemi, ni słońca!... (*po chwili*) Z głową ku ziemi schyloną, z łamiącym się w zgięciu krzyżem trzeba nam wykopywać glisty... Niech nam słońce grzbiet ogrzewa, jeżeli chce... Lecz wyprostować się całą wysokością i ramiona i czoło podnieść ku niemu i wlepić weń oczy nie wolno!... (*po chwili gorzko*). Bo nas obchodzić powinny tylko jego promienie... Co nam do tego, co w niem się pali, że, dochodząc nas po przez miliony mil chłodu i próżni, przepala nam jeszcze czaszki, że rewirując w tak bezmiernem oddaleniu, jeszcze nas oślepia? myśmy ludzie tylko; dla czego „tylko"? Wszak to może najwyższy stopień, osiągnięty przez naturę?... prawda, ludzie chcą być „tylko" ludźmi! Więc zajmować nas powinno tylko działanie gwiazd ognistych względnie do nas... i to, co nam dać mogą. Czem są same, na co to wiedzieć? Swiecidła!... O tyle coś warte, o ile do życia ziemię budzą: że są piękne, mniejsza o to; piękno jest zbytkiem, nie potrzebą; jakby pojęcie potrzeby nie było rozciągłe w nieskończoność!... Że są ogromne, cóż z tego?... Gdyby były mniejsze a proporcyonalnie bliższe, byłoby to samo. Że są bezmiarem ognia, że to, co tutaj na ziemi jest twardem, tam w postaci obłoku unosi się nad gorejącą otchłanią, że to, co na ziemi jest nieocenionem, tam gra rolę wiorów, trzeszczących w niewygasłym ogniu... co nam do tego?... To nie przynosi korzyści!... (*po chwili gorzko*) Zamknij, człowieku, oczy na słońce, bo świat od ciebie żąda pracy kreta!... (*wybucha*) Jaskółko, przestań swą powietrzną wędrówkę! Choć masz skrzydła do lotu, choć wszystko w tobie jasno mówi o twem przeznaczeniu, zgwałć swą naturę, stań się ptakiem domowym, nie wzlatuj wyżej od grzędy i znoś co dzień jaja! Tylko jako kura możesz być pożyteczną! (*zaciska pięść przed sobą*) Kretyni! (*chwyta się za głowę*) Oni są barbarzyńcami, nie pojmującymi różnorodności natury ludzkiej i, odpowiednio, różnorodności jej praw. Oni są dotknięci nieruchomością źrenicy, przeszkadzającą im patrzeć wokoło i uczącą ich zrzucania wszystkiego, co nie leży w prosto przed nimi biegnącej, wypełzanej przez nich bruzdzie! Oni są przedstawicielami despotycznej pospolitości, wyklinającej w imię bezpożyteczności społecznej wszystkich, porwanych po za jej szablon!... Oni są... (*gwałtownie*) Oni są... (uspakaja się, szyderczo) światem! (*kładzie ręce na klawisze, patrzy w górę natchnionym wzrokiem*) Będę grać! Cały świat stopię na dźwięki! Wszystkie męki, wszystkie rozkosze, ogromny zamęt porywów i namiętności, dążeń tytanicznych i bezbrzeżnych rozpaczy oddam tym... którzy mnie pojmą, dziś czy kiedyś, gdy mnie nie będzie... tym, którzy jak ja będą silnie napiętą i gwałtownie życiem drgającą struną! (*zakrywa twarz dłońmi*) Więc gram, by panować!... (*śmieje się szyderczo*) Co ja stwarzam?... Rzucam światu nadmiar źdwięków! Gram... bo dusza moja gra mi nieustannie, bom ja cała symfonią tonów! Bo świat cały jest dla mnie nieskończonością tonów, bo muzyką jest wszystko we mnie, ból i rozkosz, myśl i marzenie! Bo muzyką jest wszystko wokoło mnie... Światło słońca gra... dusze ludzkie grają!... Gra cień, wijący się za mną

cenić, ale nie stawia się ich na piedestale. I cóż w tem dziwnego, że Marynia kocha swego Stacha? Podobał jej się, przylgnęła do niego, jest młody, przystojny, dzięki jemu posiada wszelkie wygody życia, wierzy w jego mądrość i wielkość, czuje dla niego wdzięczność — czemużby go nie miała kochać? Ale ta ciągła, nieustająca odmiana: „kocham, kochasz, kocha", jest ckliwą i mogłaby nie występować na zewnątrz tak często i monotonnie. Mimo całego szacunku dla miłości małżeńskiej, pragnęłoby się w Maryni dojrzeć coś więcej nad naiwnie zakochaną w swym mężu żonę. Pragnęłoby się, aby umiała, wypełniając obowiązki dobrej żony, wybiedz myślą po za ciasne sfery swego saloniku i sypialni, bo wszak na świecie jeszcze wiele innych rzeczy i spraw, które miłować potrzeba, bo komu los zapewnił i byt i szczęście domowe, ten większy od innych ma obowiązek przykładać się do ogólnego dobra. Tymczasem Marynia kocha Stacha i nieźle się bawi. Po za tem nic. Nawet owa jej pracowitość utonęła gdzieś w fali uwielbienia dla Stacha. Całem jej marzeniem, aby mu się podobać mogła, ztąd się uśmiecha i rozpromienia, kiedy patrzy w lustro po przebytej słabości i widzi, że jest ładna. Mimowoli przypomina się Anielka z „Bez dogmatu". I w tamtej przeważa uczucie, ale o ile wyższe, szlachetniejsze, z jakim dramatem życia połączone; dla Anielki ma się cześć głęboką, o Maryni można jedynie powiedzieć: dobra, ładna żonka.

Wogóle porównanie tych dwóch powieści wypada zawsze na niekorzyść „Rodziny Połanieckich". Płoszowski i Anielka to typy wykończone artystycznie do najwyższej doskonałości — nie z niemi równać się Połanieckiemu i Maryni. Nie równać się Maryni i z Madzią, bohaterką „Emancypantek" Prusa. Obie one mają posiadać najszlachetniejsze odcienia kobiecości, ale choć Madzia może słusznie gniewać za daleko posuniętą naiwnością, ileż w niej zapału do piękna, dobra, jaka chęć pracy dla społeczeństwa... Tego wszystkiego niema w Maryni; ona oprócz Stacha kocha jeszcze Krzemień, ale to przywiązanie oparte jest wyłącznie na motywach przyzwyczajenia do miejsca i własnej przyjemności. Jeżeli Madzia wyjdzie za Solskiego, to biedni zyskają orędowniczkę, chorzy pocieszycielkę, uczący się dobrodziejkę, społeczeństwo obywatelkę. Madzia to brylant społeczny, Marysia pieścidełko dla męża.

Taką jest para bohaterów — a po przyjrzeniu się jej nasuwa się pytanie: czem sobie zasłużyły takie miernoty, aby europejskiego już dziś rozgłosu powieściopisarz poświęcał trzy wielkie tomy na skreślenie ich przygód miłosnych, czem sobie zwłaszcza zasłużył na to ten wspólnik domu komisowego, ten prosty groszorób i zjadacz chleba, człowiek małej inteligencyi a wielkiej zarozumiałości, nizkich instynktów a wysokich pretensyi do świata, aby mu dał szczęście i bogactwo? I świat mu je daje za niezasłużone zasługi. Powie ktoś, że tak bywa, że karyerowiczom i filistrom zazwyczaj lepiej się powodzi, niż ludziom zasad, pracy, szlachetnych aspiracyi. To prawda, ale czyż należy sankcyonować przy pomocy sztuki te niezdrowe stosunki? Czy artysta ma być tylko zwykłym fotografem zdejmującym portrety każdego, kto przyjdzie do jego pracowni? Czy Sienkiewicz wśród własnego społeczeństwa nie mógł już znaleść bohatera zbliżonego więcej jeżeli nie do ideału, to przynajmniej do przeciętnego typu i charakteru człowieka, mającego dobrze w głowie i w sercu. Czy może chciał powiedzieć, że jużeśmy tak upadli, że i ci, których mamy „za tęgich duchowo i fizycznie", dobrych, szlachetnych, żądnych pracy społecznej, ludzi silnej woli i zasad, „istotnie niezaprzeczonej wartości" — grają tylko przed nami komedyą, łudzą fałszywemi blaskami. Zapewne Sienkiewicz nie chciał tego dowieść, a jednak na chęć taką z jego strony wygląda, a wygląda dla tego, że pierwotny plan jego powieści zepsuł się i skrzywił, a wraz z nim zepsuła się i skrzywiła para bohaterów.

Ale za to powieść posiada całą galeryą drugorzędnych typów, skreślonych z niepospolitym, imponującym talentem. Są to wszystko postacie, z któremi spotykamy się codziennie prawie w życiu, nie zwracając na nie prawie uwagi. Ale żeby tacy zwykli, często aż nadto zwykli ludzie, ze zwykłemi namiętnościami, ze zwykłemi śmiesznościami i najpospolitszemi aspiracyami, mogli nas zająć, potrzeba mieć sienkiewiczowski dar ich wprowadzenia przedstawienia i oświetlenia. Często jedna scena, jedna rozmowa, parę frazesów wystarcza Sienkiewiczowi, aby czytelnik przejrzał na wskroś charakter i usposobienie postaci, choćby na chwilę dla ożywienia jednej tylko sceny wprowadzonej.

Na pierwszem miejscu pod względem piękności postawić należy Litkę i Emilię; może obie są nieco nieziemskie, zbyt eteryczne, ale dziwnie chwyta za serce i ta matka żyjąca tylko życiem na śmierć skazanej dzieciny i to przedwcześnie rozkochane, a raczej rozmarzone „kociątko". Trzeba było wielkiej artystycznej miary, aby stworzywszy taką postać jak Litka, nie przeciągnąć zanadto struny prawdopodobieństwa; trzeba mieć nadzwyczajny dar zawładnięcia umysłem czytelnika, aby nie spostrzegł, że przepiękna jako pomysł scena połączenia Połanieckiego z Marynią przez Litkę na łożu śmierci jest tworem czystej, oderwanej od stosunków życiowych fantazyi. Całe otoczenie tych dwóch postaci z wyjątkiem Maszki, jest na wskroś sympatyczne. Tacy Bigielowie, ludzie obowiązku i pracy, mogliby dla Połanieckich być przykładem; oboje nie analizują uczuć, nie filozofują, a mają w sobie pełno serca i miłości. Bigiel więcej sobie zawdzięcza niż Połaniecki, a nie pozuje, niema w nim dumy z niepopełnionych „czynów"; są to ludzie prości, bardzo zwykli, ale też za takich uchodzą, takimi się przedstawiają i nikt do nich pretensyi mieć nie może, że nie wyrastają ponad głowy. Pokrewny Płoszowskiemu Bukacki jest nieoceniony ze swoją ironią, z nieustannemi drwinami ze świata i ludzi; domyślamy się, iż jego dekadentyzm nie powstał bez przyczyny, a wiemy, iż pod maską zgryźliwego humoru bije w nim serce, bądź co bądź poczciwe, iż kpi więcej dla tego, aby nie wyjść z wprawy, aniżeli z przekonania. W towarzystwie tem jest jeszcze jedna postać, która wciąż występuje aż do końca powieści, zbyteczna w niej wprawdzie, bo jako całkiem oderwana nie wpływa zupełnie na akcyą, ale bezwarunkowo jedyna w całej powieści, co ma swoje prawdziwe szersze ideały. Jest to profesor Waskowski, mistyk, wierzący w odrodzenie społeczeństwa przez chrześciaństwo i w posłannictwo „najmłodszych Aryów". Mogą się komuś te ideały niepodobać, może z uśmiechem spoglądać na Waskowskiego, namawiającego do czytania życia św. Franciszka z Assyżu (sam Sienkiewicz nazywa go dziwakiem i nawet lekko go ośmiesza), ale każdy przyzna, że ten człowiek, uważając się za atom olbrzymiego ciała, odczuwa jego boleści i pragnienia. Jego głowa i serce pracują dla odrodzenia ludzkości, a czy ta praca spotka się z szyderstwem czy z uznaniem, czy kierunek jaki obrał prowadzi lub nie do celu, zawsze cieszyć się należy, że są jeszcze ludzie charakterów i wyższych aspiracyi, którzy nie porzucają swych ideałów dla własnej wygody i dobrego trawienia.

Chciałoby się takim widzieć Zawistowskiego, poetę, marzyciela, drugiego bohatera „Rodziny Połanieckich". Ale Sienkiewicz z postaci tej nie wykrzesał takiego ognia, któryby mógł zapalić. Jest to wrażliwa artystyczna natura, mieszanina egoizmu, fantazyi i tkliwości niemal kobiecej. Pani Aneta nazywała go „orłem" ale wątpić należy, czy różnobarwne skrzydła jego muzy zdolne były do orlego polotu. Zawistowski kocha się i pisze wiersze miłosne. Sienkiewicz zaręcza, iż „język jego miał w sobie niepożytość i wagę metalu, a mimo tego giął się posłusznie i przybierał najsubtelniejsze kształty". Być może, ale przyglądając mu się w powieści podejrzywamy, iż w jego poezyach

---

wieczorem, i niebo gra gwiazdami, księżycem i bezmiarem! Bo ogromnym chórem dla mnie jest wszechświat zewnętrzny i wszechświat mej duszy, ogromnym... nieuchwytnym... co chwila urywanym, nie kończącym się nigdy i nigdy nie rozpoczętym, nieskończonym chórem! (*podnosi twarz natchnioną*) Gdy w tym bezmiernym chaosie chwycę ton jeden, z potężnej, bez końca ni początku pieśni, zwrot jeden, — gdy wzburzonej fali niespokojnego oceanu tonów, w którym mnie pogrążono, wyrwę chwilowy kształt jednej fali i rzucę go światu... gdy rzucę ten jeden pył nieśmiertelny, porwany moją dłonią wiecznie w mrok niknącemu i wiecznie z cieniów napływającemu, szczodremu do marnotrwstwa prądowi dźwięków,... tworzę!... Ułowiłam cząstkę ogromu, zalewającego mnie. bez innej żądzy, prócz zalewania, zachwycania mnie... z wspaniałomyślnością bogów, którzy więcej mają, niż dają, choćby wszystko dali!... (*podnosi w górę ręce i oczy*) Lecz ja za ciebie pragnę, ogromie. Chcę, byś zalał świat, jak moją duszę! Jak duszę moją zachwycał i upajał świat! Byś rozbrzmiewał w nieskończoności i na wieki wypełniał bezmiar przestrzeni pomiędzy gwiazdami! Ja ci chcę świat dać, potęgo!... Chcę, by światy tak drgały w twem objęciu, jak moje serce! Byś niemi tak wstrząsał jak memi nerwami! (*przerywa*) Gdybyś ludzi był wypiastował swem dzikiem szaleństwem i łagodnym smutkiem niezbadanej tajemnicy... gdybyś im, jak mnie, kazał był rozpaczać i wybuchać siłą, gdybyś, jak mnie, był ich oczyścił z brudów i pyłu... jak mnie dał im patrzeć i czuć dalej, niż sięgają wzrok i myśl świadoma... przebijać martwą lub leniwą powierzchnię życia, by sięgnąć do jego wrącego, roztopionego jądra... Gdybyś ich był, jak mnie, przetopił w ogniu swych płomiennych hymnów, jak mnie, rozwinął dziką rozpaczą wichrów... jak mnie, dał prawdziwe pojęcie szczęścia i rozkoszy w szepcie twych gorąco-cichych pieśni, gdybyś ich nauczył czuć tak silnie, rozlegle i głęboko jak mnie, dziecko twych wybuchów... gdybyś, jak mnie, był ich ukochał i stworzył... (*zadumana*) byliby innymi... (*żywiej*) ...Gardziliby robactwem, żywiącem się w mule i nie pytali, co za korzyść z ciebie! I nie szarpaliby się między sobą... nie zabijali o to, co myśli nie warte... Nie wyrywaliby sobie wnętrzności, by gotować z nich rozkosz dla swego podniebienia... nie czciliby tego, co godne tylko śmiechu i pogardy, nie gardziliby tem, przed czem klęknąć trzeba!... Nie krzywdziliby się tak okropnie, ciał i dusz nie deptali... Upajaliby się wspólną, doskonałą rozkoszą... Żyliby ognistą treścią, płomiennem wnętrzem życia!... (*jak do wizyi*) Graj nam, ogromie potęgi! życia! piękna! Gdy ja cię usiłuję odtwarzać, oni, poddając się twemu czarowi, buntują się przeciw niemu, bo nie ciebie widzą, wybuchającego przezemnie, narzędzie twoje, lecz mnie samą! I nienawidząc mnie, uciekają od ciebie, bo im się zdaje, że ja ich ujarzmiam, że mojemu urokowi się poddają! I nienawidzą... może słusznie?... Za wszechwładzę człowieka nad człowiekiem, za opętanie dusz przez duszę! (*coraz namiętniej*) Daj się ogarnąć! Daj się rozwikłać! Potęgo! schyl ludzkie głowy przed sobą! Zabierz ich sama! Graj sama, bo w końcu i ja bluźnić ci będę, złudzeniem, że nie ty duszę moją, lecz ja posiadam ciebie! Zdruzgocz mnie jednym potężnym akordem i niech moje rozbite jestestwo wśród mąk konania da ci ujście aż pod niebiosa! Graj sama! Rozbrzmiewaj sama, by świat ci nie bluźnił i ja ze światem!... (*Słońce gaśnie, szary mrok zapada — pochyla głowę; gorącym szeptem*) Co mi ty mówisz? Posłyszeć nie mogę... Czego ty chcesz odemnie?... (*Dotyka palcami klawiszów i zaczyna cicho, coraz namiętniej, wreszcie wybucha burzą rozpaczy*).

(*Mrok zapada; — Leon ukradkiem wchodzi i siada w kącie po za Wandą; — ku końcowi ukazuje się Rózia*).

WANDA (*w chwili najwyższego zapału — odrywa się nagle i wstaje od fortepianu — z rozpaczą*).

Piekło!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

było wszystko, oprócz siły i potęgi ducha. A jestto właśnie to, czego najwięcej zaczyna brakować naszej „najmłodszej“ poezyi: forma zabija treść, muzyka dźwięków zastępuje muzykę myśli, oryginalność polega na dyletantyzmie naukowym, naśladowaniu niezdrowych prądów i na wmawianiu poetów samych w siebie, zwątpienia, rozpaczy, przesytu. Do tej kategoryi zdaje się należał Zawistowski — postać zatem prawdziwa, ale nie budząca zajęcia. I żal nam, że nawet w powieści nie możemy się spotkać z młodym poetą, co unosi, porywa, co każe wierzyć w swój zapał, w swą wyższość i w swe posłannictwo.

Za to Lineta Castelli jako figura powieściowa, należy do najlepszych kreacyi Sienkiewicza. Jest nowa, wysoce oryginalna, usprawiedliwiona psychologicznie. Głaz i mimoza w jednej osobie, posągowa i namiętna, artystka i komedyantka, uśpiona królewna z instynktami pokojówki, przedstawiała zapewne niemałą trudność do pochwycenia. Trzeba było niezwykłej artystycznej miary, aby z tych sprzeczności temperamentu i pojęć, z jakich się składa Lineta, stworzyć postać bądź co bądź jednolitą a prawdziwą.

K. Bartoszewicz.

(Dokończenie nastąpi.)

„Sans dogme“.

Paryż w sierpniu.

Przeszło pół roku temu zawiadomił „Kraj“ swoich czytelników, że niebawem wyjdzie u Levego w Paryżu „Bez dogmatu“ Sienkiewicza we francuskiem tłomaczeniu. Wiadomość ta pojawiała się odtąd co chwila w rozmaitych dziennikach, to francuskich, to polskich; niektóre dodawały, że Paweł Bourget przygotowuje przedmowę do Sienkiewiczowskiej powieści. Zapowiedzi powtarzały się peryodycznie, książka nie ukazywała się w druku.

By sprawę wyjaśnić, dowiedzieć się stanowczo, czy i kiedy oczekiwać można jej wydania, udałem się przed dwoma tygodniami do zakładu Calamanna Levego. Objaśniono mię, że skoro tak dzienniki donoszą, wyjdzie oczywiście książka niebawem, w żadnym jednak razie nie wyjdzie w lecie. To pora najgorsza, Paryż wyludniony, i wydana w tym czasie książka przejśćby mogła niepostrzeżenie, stracić urok nowości, nim powrócą z letnich wycieczek ludzie nowości żądni. Nie chciałem się zadowolić tak ogólnikowemi danemi, odesłano mię więc do pana Weila, który w zakładzie wydawniczym Levego pełni służbę „informatora prasy“.

— Powieść Sienkiewicza? „Bez dogmatu“? proszę się chwilę zatrzymać, muszę się dowiedzieć — i p. Weil, zasięgnąwszy języka, poinformował mię, oświadczając stanowczo, że dom Levego nie otrzymał dotąd żadnej powieści Sienkiewicza do druku.

Przytaczam te szczegóły, bo rzucają one światło na warunki, w jakich wydano w Paryżu pierwsze tłomaczenie francuskie powieści autora, głośnego zresztą we wszystkich krajach Europy i Ameryki. Od wczoraj leży na mem biurku książka, której tytuł brzmi: „H. Sienkiewicz Sans dogme, traduit de polonais par le Comte A. Wodziński. Paris, Calamann Lévy, 1895“.

Pobiegłem natychmiast do oryginalnego „informatora prasy“ głośnego domu Levy—tłomaczył się, że nie wiedział, że autorem „Sans dogme“ jest Sienkiewicz, że w katalogu drukarni figuruje książka ta pod nazwiskiem p. Wodzińskiego, wyszła zaś w porze martwej, bo „teraz druk jej ukończono“. Przez samą ciekawość, w jakie wiadomości uzbroił się „informator prasy“ w chwili, gdy dom Levego obznajmia publiczność francuską po raz pierwszy z wielkiem dziełem polskiego powieściopisarza, starałem się wydobyć coś z p. Weila o Sienkiewiczu, „Bez dogmatu“ i p. Wodzińskim — nic poczciwiec nie wiedział, nawet tego, co w ostatnich czasach pisały o autorze „Potopu“ pisma paryskie!

Mniejsza o literackie wiadomości, uprzejmego zresztą, „informatora prasy“ domu Levego; świadczą one jednak, że nietylko pojawieniu się „Sans dogme“ towarzyszyć nie będzie reklama, ale że wydawcy odstąpili w tym wypadku od przyjętego ogólnie w Paryżu w takich razach zwyczaju i nie zadadzą sobie trudu dostarczania wiadomości tym nawet dziennikarzom paryskim, którzy „proprio motu“ zająć się zechcą nowością. Sienkiewicz zadowolnić się na razie musi tymi czytelnikami, których zwabi mu w pustym dziś Paryżu wystawienie nowej książki po oknach księgarskich. Jakie wrażenie sprawi „Sans dogme“ na czytelnikach, którym wpadnie przypadkowo w ręce?

Przeczytałem książkę jednym tchem i na mnie zrobiła wrażenie jak najlepsze. W pobieżnej swej reporterskiej notatce zapuszczać się nie myślę w krytykę ni dzieła, ni tłomacza. „Bez dogmatu“ jest niewątpliwie książką, którą zrozumieć może i ocenić każdy, bez względu na narodowość i język. Co najwyżej, francuscy czytelnicy, nie znający tak dobrze typu tak charakterystycznie polskiego, jak Płoszowski, nie będą mieli uczucia tego dreszczu, przejmującego nas, znajdujących w książce Sienkiewicza tyle rysów wydobytych na jaw i zanalizowanych, z których jawnie nie zdawaliśmy sobie sprawy, nas, niepokojonych ich prawdziwością, czujących, jak każde cięcie drży. Ale bądź co bądź, typ ten, mniej innych dotykający żywo, dla wszystkich jest zrozumiałym, zajmującym, a analiza wszystkich przejąć zdoła silnie, byle tłomaczenie nie uroniło tej świeżości i jędrności przedstawienia przejść i uczuć, tej bystrości spostrzegawczej, konsekwencyi w przeprowadzeniu i ciepła uczucia, które urok stanowią oryginału.

Pod tym względem sąd należy do Francuzów, mnie tłomaczenie wydaje się bardzo dobrem. Krytyka polska osądzi zapewne wpływ, jaki na powieść Sienkiewicza wywarło zmniejszenie jej rozmiarów. Trzy tomy „Bez dogmatu“ stopniały w tłomaczeniu francuskiem do jednego o 393 str. Francuscy wydawcy nie drukują wielotomowych powieści, stosując się w tem do upodobań tutejszej publiczności, która obecnie dozwala na większą ilość tomów jedynie, gdy chodzi o dzieła naukowe. Tragiczne przejścia i najgorętsze miłości zmieścić się muszą w tych ciasnych, zakreślonych zwyczajem, ramach.

Do wymagań tych stosują się francuscy pisarze. Co innego jednak napisać oryginalną powieść jednotomową, co innego zredukować trzechtomową do jednej trzeciej. Zmniejszenia takiego osiągnąć nie można samemi wykreśleniami; dokonać tu trzeba artystycznej redakcyi, jak owego medalu Chaplaina, który wykonywuje mistrz w wielkich rozmiarach, zmniejszają zaś wprawni wykonawcy. Nie mam pod ręką oryginału „Bez dogmatu“, nie mogę więc zrobić porównania. Mam wrażenie, że zmniejszenie odbyło się głównie kosztem licznych uwag i spostrzeżeń, kreślonych przez Płoszowskiego w dzienniku swym, a dotyczących ludzi i rzeczy, z któremi się stykał. Uwagi te nie mają nieraz bezpośredniego związku z powieścią, dają nam jednak nutę nastroju duchowego bohatera, przygotowują przejścia, które bez nich mniej byłyby zrozumiałemi.

Tłomaczenie swe dedykował p. Wodziński pani Maryi z Wodzińskich Orpiszewskiej, „łącząc z nazwiskiem najsławniejszego naszego powieściopisarza nazwisko tej, która ongi, w wiośnie swego życia miała rzadkie szczęście, że natchnęła i największego naszego muzyka i najpotężniejszego naszego poetę“.

W krótkiej przedmowie przypomina tłomacz pojawienie się na naszym literackim widnokręgu pierwszorzędnej tej gwiazdy; zaznacza, że w wyborze powieści, której podjął się tłomaczenia, zastosował się do życzenia samego autora; oświadcza wreszcie, że wszystkie zalety „Sans Dogme“ słabem są odbiciem zalet oryginału, a wszystkie braki na własne bierze barki.

LAURA MARHOLM.

UMARŁ.

(tłom. **Helena Erté.**)

W powietrzu panowała cisza.

Słońce żółte wyglądało z poza szarych chmur — świeciło i chowało się. Jezioro leżało niby falista blacha, z długą czarną smugą, co przeżynała je przez środek. W dali słychać było wieczorne dzwony, dzwoniły chwilę, potem ucichły. Wóz towarowy skrzypiał niewidzialny za zielonym pagórkiem, aż skrzypienie umilkło. Nie było nic słychać, jak tylko cichy szum niby szum pszczół rojnych. Ale nie były to pszczoły — była to tylko krew tętniąca, co szumiała w uszach kobiety, wsłuchującej się w ciszę. Kobieta stała na balkonie, — młoda kobieta, ale nie w zwykłem znaczeniu słowa, — o szerokich biodrach i spokojnej postaci. Jej stalowo szare oczy patrzyły w dal na góry śnieżne, ale nie widziały roztaczającego się krajobrazu. Patrzyły, ale nie widziały. Tkwił w nich jakiś niepokój, co objawiał się i ruchami ust, na których leżał smutek. Smutek, który nie miał żadnej przyczyny zewnętrznej, ani nawet wewnętrznej.... Był to czysto fizyczny niepokój silnego ciała i zdolnej do naprężeń duszy, łaknących podniet i wybuchów silniejszych, niżli te, co przynoszą szczęście lub nieszczęście, z ową monotonią, co ciąży nad niemi, niby szare a brudne niebo.

Na stoliczku balkonowym stał kociołek, a nad nim unosiła się para — dwie flaszki, jedna z rumem, druga z arakiem, i dymiąca, napełniona szklanka, do której ręka mężczyzny o długich, wązkich palcach wyciskała cytrynę.

Ręka ta poruszała się zwolna, bez nerwowych ruchów, właściwych długim a szczupłym rękom. Ręka to była młoda i młodym był mężczyzna, co wsparty na dłoni, siedział przy balkonowym stoliku. Twarz miał jeszcze młodszą niż rękę, twarz, w której wszystko tchnęło spokojem, ciche spojrzenie niebieskich oczów, co spoglądały w górę, i miękką linię silnych warg, rozchylonych, jak u śpiącego. Był to cichy, pełny spokój — wsłuchiwanie się, ale nie w głosy lub myśli — nie milczenie nadziei lub rozczarowania, lecz bezwiedne przysłuchiwanie się temu, co się dzieje po za tym światem wrażeń i zmysłów.

Cisza zalegała powietrze, nieskończona, najcichsza cisza.

Wieczór zapadał.

Mężczyzna i kobieta na balkonie nie mówili do siebie nic, ale w tem milczeniu było coś, co mówiło bez ruchu, bez spojrzeń, bez słów.

W pokoju o dębowych ścianach, z którego białe firanki wyglądały jakby plamy świetliste, słuchać było tykanie zegara. W ciszy tykanie to odzywało się twardo i głośno, jakby czas biegł drogą, żwirem sypaną i krótkim, skaczącym, ptasim krokiem.

Krajobraz ginął w pomroce, a błękitnawa perlista woń rozchodziła się w krąg niby cienka mgła.

Nagle coś przerwało ciszę — coś, co ozwało się jakby przeczucie, zwiększało się i wzrastało. W powietrzu rozległ się szelest czyichś kroków. Były to równe, ciężkie, miarowe kroki. Z daleka nadchodził człowiek, zbliżył się do domu i podał gazetę na balkon.

— Padam do nóg panu.

— Dobry wieczór Seppl — chcecie cygaro?

— Dziękuję ślicznie.

Zapałka zabłysła, a za nią dwa świecące punkty.

— Dobrej nocy panu.

— Dobranoc Seppl.

Listonosz znikł — kroki jego ucichły, jakby wpadł w ziemię. Z świecącego punktu na balkonie wznosiła się łagodna, okrągła chmurka dymu. Mężczyzna siedzący z gazetą w ręku pochylał się tam i napowrót nad stolikiem. Chmurka unosiła się w powietrzu, aż zsunęła się cicho na poręcz balkonową.

ze skromnością tem godniejszą uznania, że wyrażona jest przez cenionego autora kilku francuskich powieści.

Starannością wydania nie olśnił mię głośny dom spadkobierców braci Levy. Staranni paryscy wydawcy oczyszczać przecież zwykli książki swe z drukarskich błędów, nie polegając w tem na korekcie autora, który ważniejsze rzeczy ma na swej głowie, niż śledzenie za przestawionemi literami lub przekręconemi nazwiskami, gdy zastanawia się, czy dać swe imprimatur. Gdy się jest wielkoświatową firmą, nic przypominać nie powinno tandety. *W.*

HENRYK SYBEL.

(Wspomnienie pozgonne).

Szczęścia nie miał. Umarł nieco za wcześnie. Tak kochał Prusy, tak walczył o ich „ideę“ słowem i piórem poprzez długie lata z różnem powodzeniem, towarzyszył w r. 1870 wcieleniu się tej idei w życie doczesne, a gdy obecnie w radosnem upojeniu obchodzą Niemcy „całe i zjednoczone“ rocznicę jubileuszową, los niedobry historykowi zamknął oczy na zawsze. „Kochał“. „walczył“: jest w tych wyrazach zawarta cała charakterystyka zgasłego. Jego miłością były Prusy od czasu, jak pisać zaczął. Był wprawdzie uczniem Rankego, tego, który uosabiał przedmiotowość jakoby historyka, spokój dyplomatyczny, bezkrwistość biurokraty pruskiego. Temperament „nadreński“ prędko kazał Syblowi zerwać z metodą publicystyczną, z kanonem historyozoficznym mistrza tego obrazu konserwatyzmu pruskiego. Jego pierwsze prace były już pod tym względem ostatniemi: znudził go szybko świat średniowiecza: zbadał z całym aparatem laboratoryum Rankego „Dzieje pierwszej wojny krzyżowej“ i poddał druzgocącej krytyce wszystkie legendy, stwierdził fałszerstwa historyczne, zebrał wszystkie akta i dyplomy. Na tem poprzestał atoli. Puścił się w wir życia politycznego, któremu, jako deputowany, poświęcił całe 33 lata. To życie właśnie nadawało ton podstawowy jego działalności naukowej. W Marburgu i Bonn wykładał z katedry konieczność dziejową zbudowania państwa niemieckiego z Prusami na czele i z wyłączeniem Austryi z tej nowej korony niemieckiej. W tym sensie był następcą poglądów Gervinusa i Dahlmanna: tego ostatniego zastąpił w Bonn. Pierwszem jego słowem, wypowiedzianem w obronie tych przekonań, była książka: „Powstanie cesarstwa niemieckiego“, którego ostatnie dwa tomy wydano dopiero przed kilku miesiącami. Można powiedzieć, że rzadko kto tak wiernie i wytrwale jak Sybel, przez lat pięćdziesiąt z górą, służył jednej „idei“ (postulatowi cesarstwa niemieckiego): służył wszędzie, w parlamentach, na katedrze, w życiu prywatnem, jako naczelnik archiwów państwowych.

Była to natura nawskroś polemiczna. Czy to pisząc o czasach najnowszych, czy błąkając się (wszakże możliwie pewnym krokiem) po krętych i zawrotnych krużgankach średniowiecza — zawsze występował w pełnym rynsztunku bojowym i zawsze miał przeciwnika, przytem żywego: dla niego nawet abstrakcye przyoblekały się w żywe kształty, a gdy walczył o „prawdę“, to i ta kochanka była dla niego życiem pełnem powabu i rozczarowań. Warto przejrzeć kilkanaście tomów jego kwartalnika „Historisze Zeitschrift“, szczególnie z lat poprzedzających kampanię francusko-pruską, aby zobaczyć, co to za mistrz fechtunku — i to nietylko na własną rękę: cały sztab uczonych z pod jego sztandaru umiał, jak nikt lepiej, bronić swego, niszczyć, wyśmiewać, błotem obrzucać wszystko, co tchnęło przeciwnemi teoryami politycznemi.

Najważniejszą pracą Sybla są zapewne „Dzieje epoki rewolucyjnej“ — i historycy niemieccy byli tegoż zdania, aż przed kilku laty ogłosił 5 tomów „Cesarstwa niemieckiego“. Już przed Tainem umiał on wykazać po mistrzowsku, jak w granicach Wielkiej Rewolucyi należy polemizować, ile czarnych barw trzeba zbierać na palecie dziejopisarskiej, jak czernić wielkich działaczów i wielkich męczenników. Miała ta praca i zasług trochę: zwróciła bowiem w sposób bardzo charakterystyczny uwagę historyków na kwestyę podziału Polski w stosunku do W. Rewolucyi — rzecz, która od tego czasu niejednokrotnie była powtarzaną. Przynosiła świeży materyał z historyi Austryi, Niemiec i Prus. Względem Austryi pisarz ten zajmuje atoli stanowisko wrogie aż do zchydzenia pobratymców osiadłych nad Dunajem. Powstała też cała literatura polemiczna (Vivenot, Herrmann, Küffer).

W r. 1875 Sybel został dyrektorem pruskich archiwów i niewolnikiem Bismarcka. Od tej chwili datuje się pewna chęć i myśl opisania dziejów powstania państwa niemieckiego. Praca prawdopodobnie w dużej części jest dziełem Bismarcka. Dziś, kiedy już całość siedmiu tomów ogarnąć możemy, czyni ona wrażenie starej epopei, w której sam działacz dyktuje swe dzieje posłusznemu skrybie. Książę żelazny ukazuje się wszędzie genialny, oddany prawdzie, sprawiedliwości, uprzejmy nawet i dystyngowany, jak przystało na wielkiego bohatera epopei. Cesarza Wilhelma II nie zadowoliło takie przedstawienie rzeczy i nie podobała mu się cieniowa rola, jaką autor wyznaczył jego dziadkowi, Wilhelmowi I, a już był urażony stronnicami, poświęconemi teściowi, ks. Augustenburskiemu. Dość, że dyrektorowi archiwów wzbroniono korzystania z aktów zbioru państwowego — a przed rokiem pozbawiono go wysokiej nagrody, wyznaczonej mu przez sędziów konkursowych. Mimo to, pewnie dzięki poparciu ks. Bismarcka i jego partyzantów, a przy pomocy rękopiśmiennych pamiętników powstały dwa tomy, wykończone ubiegłej zimy. Historyk przerywa owe opowiadanie na roku 1869.

Po śmierci Rankego uważano go za największego historyka Niemiec współczesnych. Pochowano z największemi honorami, na jakie zdobyć się może biurokratyzm pruski. I cesarz Wilhelm darował mu winy: wszak popełnił je w dobrej, ultra-pruskiej wierze i w polemicznym zapale.

P. O. R.

Jerzy Gordon Noel Byron.

Irlandzki Avatar.[1]

Wprzód nim córa Brunświku w swej ostygła trumnie,
Gdy jej proch płynie jeszcze w swej ojczyzny stronę,
Oto już tryumfując Jerzy spieszy dumnie
Do wyspy, którą kochał tak jak swoją — żonę.

Wprawdzie świetna jej era teraz już nie świeci...
Czas wolności do tęczy tak podobny błysku
Trwał lat kilka, po długim szeregu stuleci...
Czas, co nie znał ni zdrady, ni łez, ni ucisku.[2]

Wprawdzie na katolika szmatach łańcuch dzwoni,
Zamek stoi, lecz senat już w nim nie zasiada;
A głód, co dotąd mieszkał w stromych skał ustroni,
Teraz już spustoszonym brzegiem morza włada.

[1]) Avatar — jest to wcielenie bóstwa. Takiem wcieleniem bóstwa, schodzącem do Irlandyi (inaczej Erynu) nazywa Byron ironicznie Jerzego IV, króla Anglii, który natychmiast po śmierci żony swej Karoliny Brunświckiej odwiedził ową znękaną i spustoszoną wyspę. Świetne przyjęcie, jakie mu tam zgotowano, nie licujące bynajmniej z ogólnem przygnębieniem mieszkańców, stało się powodem tego wiersza, w którym poeta wypowiada uczucia swe względem narodu tak przez jego ziomków ciemiężonego. Kwestya irlandzka, do dzisiejszego dnia nie rozwiązana jeszcze, mówi sama za siebie. Pragnącym dzieje jej poznać bliżej, przynajmniej w ogólnych zarysach, odsyłam do IV tomu, „Głównych prądów literatury XIX stulecia“, gdzie na str. 176—215 Brandes kreśli porywający obraz stosunków irlandzkich na schyłku XVIII stulecia. Czytelnicy znajdą tam najlepszy komentarz do wiersza, którego przekład podaję.

[2]) Byron ma tu na myśli zwrot, jaki nastąpił od chwili zamianowania (1795) przez rząd angielski wicekrólem Irlandyi lorda Camdena, który na wstępie zapowiedział, iż odstępuje od humanitarnej polityki roku 1782.

Dwie duże chmury dymu uniosły się z palącego punktu, co błyszczał jasno.

— Haynasch umarł — odezwał się w ciszy spokojny, ale nie całkiem czysty głos męzki.

Kobieta drgnęła i zwróciła się do stolika.

— Haynasch? — a po chwili: — Mieliśmy się jeszcze jutro z nim spotkać.

— Tak, teraz się już z nim nie spotkamy.

— Jakżeż się to stało? — pytał głos bojaźliwy a drżący.

— Zdaje się, że utonął w jeziorze podczas kąpieli. Z zamiarem albo może i bez zamiaru. Więcej w gazecie nie ma nic.

Cygaro zatliło się i znowu kręgi dymu zawisły cicho w powietrzu.

— Dr. Alfred Haynasch — przecie tak się nazywał?

— Tak.

— W takim razie to on.

— Pozwól gazetę, muszę przeczytać sama.

Kobieta wzięła dziennik do ręki, znalazła ową wzmiankę, wsparła oba łokcie na poręczy balkonu, głowę skryła w dłonie, że twarzy nie było widać, i czytała — długo.

Potem wyprostowała się.

— I prawie został mianowany profesorem zwyczajnym... nie wiem tylko gdzie... czuć było w głosie, że myśli jej były daleko.

Mężczyzna siedział cicho i nie odpowiadał nic.

— Że tu nie mógł wytrzymać, to powtarzał często — opowiadała kobieta — ale i tam, gdzie miał jechać, nie nęciło go nic... a teraz ten nagły koniec.

Mężczyzna palił cygaro i milczał.

Nastąpiła długa cisza.

Kobieta stała niby czarny cień zwrócony ku niebu. Odblask zorzy wieczornej spływał z północy w szeroką dolinę, żółtawo-czerwoną łuną, z pod której gęste szare obłoki wznosiły się do góry.

Wiatr wieczorny zaświszczał nad balkonem.

Kobietę przeszło drżenie od stóp do głowy.

— Właściwie jest mi to nawet przyjemnem — szepnęła.

Zadumane oczy mężczyzny spojrzały na nią duże — otwarte.

— Tobie? - strzepnął popiół z cygara. — Cóż ciebie to dotyczyć może, czy on żyje, czy umarł?!

— Nie potrzebuję go więcej widzieć.

— Jest w tem coś uderzającego — rzekł mężczyzna — ja mam to samo uczucie.

Kobieta spojrzała na niego z dziwnym wyrazem w oczach.

— Właściwie... ty i on — nie byliście nigdy przyjaciołmi.

— Tak. Ale ty i on... on w gruncie rzeczy kręcił się koło ciebie.

Kobieta uchwyciła gałązkę dzikiego wina, które zwieszało się z balkonu — i bawiła się nią nerwowo.

— On też zawsze czegoś chciał odemnie — szepnęła.

— Chciał czegoś od ciebie?

— Tak.

— Czegóż takiego?

Głos mężczyzny nie był zmieniony, ale oczy jego rozszerzyły się i patrzyły na nią spojrzeniem, jakby ją ująć chciały w żelazne kleszcze.

— Sama nie wiem, czego on mógł chcieć odemnie.

Bawiła się dalej gałązką wina — nagle zerwała ją, że cała zieleń balkonowa zadrżała, — rzuciła zerwane liście i weszła do pokoju, gdzie chodziła tam i napowrót szybkim, niespokojnym krokiem.

— Gdybym chociaż wiedziała!... — stanęła w drzwiach i mówiła jakby do siebie. — Wiem dobrze, że chciał czegoś odemnie... zawsze kiedyśmy byli sami. Czytałam to w jego oczach... czułam to, gdy siedział przy mnie, albo szedł za mną. Było w nim coś, co zbliżało się do mnie i pukać chciało jak do zamkniętej bramy... Ale przedewszystkiem tkwiło to w jego oczach...

— Tak; miał zawsze dziwne oczy, takie okrągłe, badające, niby oczy ptaka.

— Jakby kosa — mówiła kobieta. — Ale nie było to samo spojrzenie. Było w nim

Tym brzegiem spustoszonym — zkąd wychodźca oczy
Obraca ku swej ziemi, zanim w dal odpłynie...
Na łańcuch, co mu z ręki opadł, łza się toczy,
Był więźniem — lecz przynajmniej w ojczystej krainie.

Lecz oto On przybywa! Mesyasz władzy swojej!
Jak ów piękny Lewiatan! przeto niech go darzy
Lud Twój takiem przyjęciem, jakie mu przystoi...
Więc armią niewolników i legią kucharzy.

Wiozac kopą tak kwiecie jak i przyrzeczenia,
Przybywa w widowisku zagrać władcy rolę...
Niech żyje koniczyna,[3]) która go ocienia!
Obyż w sercu miał zieleń, jak ją ma — na czole!

Gdyby odżyła jednak ta zieleń zwiędnięta,
Gdyby trysły szlachetnych pragnień nowe zdroje,
Wybaczyłaby wolność — gdy cię łańcuch pęta —
Taniec i niewolnicze te okrzyki twoje.

Szał-li to, czy nikczemność hańbi twoją dolę?
Jak gdyby Bogiem było nędzne to stworzenie
Tyle grzechów mające, co zmarszczek na czole...
Wszak go mogło zawstydzić takie ubóstwienie.

Drzyj więc gardło w orszaku władcy — niech się puszą
Mówcy twoi, by jego pychę paść nikczemnie,
Grattan[4]) nie tak wolność bronił całą duszą...
Błagał i protestował — wszystko nadaremnie.

Zawsze sławny Gratanie! Tak wzniosły, gdyś z chwałą
Spoczął! Szczery, z szlachetnych najbardziej szlachetny,
Obdarzony wszystkiem, czego nie stawało
Demostenowi, jego zapaśniku świetny!

Zanim Tulliusz zabłysnął na Rzymu zenicie,
Lubo sam niezrównany, zastał podwaliny —
Ale Grattan z mogiły wieków wywiódł życie,
Jak Bóg — pierwszy, ostatni, zbawiciel, jedyny...

By władzą Orfeusza poskromić zwierzęta,
Prometeja skrą ludzkość rozpłomienić całą..
Tyrania go słuchała niema i wstrząśnięta,
A przedajność pod myśli jego bladła strzałą.

Lecz powróćmy do rzeczy, a więc do despotów,
Niewolników, uczt, zabaw wśród pory głodowej...
Wolność wita — niewolnik zaś oszaleć gotów,
Gdy na czas saturnalii zwolnią mu okowy.

Czczy przepych da świetności pozór twej ruinie...
Tak bankruty, chcąc nędzę ukryć, się panoszą!
Wyzłoć pałac! Patrz, oto władca twój Erynie...
Ucałuj nogę ze czcią i rozkoszą.

A jeżeli wydarta wolność wreszcie błyśnie,
A bałwan z bronzu ujrzy nogi swe gliniane —
Oddziel, co polityka lub przestrach wyciśnie,
Od tego, co jak władcy wilczy łup jest brane.

Każdy zwierz ma przywilej, rząd — to przywileje
Króla! W tem jednem słowie oto się zawarła
Przyczyna przekleństw świata, stanowiących dzieje
Od Cezara Olbrzyma do Jerzego Karła.

Noś Fingalu galowy strój! Czar twej wymowy
Niech działa O'Connelu — aż wszyscy poczują,
Że jest błędnym ten wyrok hańby półwiekowej
I wyrazy: „Hal młody księciem jest i szują".[5])

Fingalu! Czy ci modra szarfa twa przypomni
Miliony katolików skutych w lochu zimnym...
Czy cię ona nie zwiąże z wszystkich najniezłomniej
Niewolników, co zdrajcę dziś witają hymnem.

Tak! postawcie mu pałac! Sypcie mu halerze,
Póki, jak Babel, pałac królewski nie stanie..
Niech żebrak i niewolnik grosze swoje zbierze!
Z więzienia niechaj pałac wzniosą ci tyranie!

Stawcie dla Witelliusza stół z królewską strawą,
Aż drapieżności żarłoczny i jego kumpany
Po gardziel się napchają i ogłoszą z wrzawą:
Niech żyje kiep i tyran czwarty, Jerzym zwany.

Stawcie stoły biesiadne, dopóki w przesycie
Nie zajęczą, jak lud twój, co z nędzy szaleje...
Wino niech bachanalii tron zlewa obficie,
Jak twa krew, co się lała i jeszcze się leje.

Lecz niech nie jego tylko imię bywa wszędzie
Twym bożkiem; po prawicy oto masz Sejana,
To Castlereagh[6]) Twój własny! Niechże twoją będzie
Zawsze ta szuja, z przekleństw i drwin tylko znana.

Ojczysta wyspa jego winna być czerwona
Ze wstydu, jak posoka, którą lał z jej wnętrzy..
Eryn pysznić się zdaje płodem swego łona
I za morderstwa okrzyk śle mu najgorętszy.

Bez znamion, z których każdy syn Irlandyi słynie...
Bez fantazyi, odwagi, ognia! Niedaremną
Jest wątpliwość, co ciebie ogarnia Erynie,
Czyś mógł wydać istotę podobnie nikczemną?!

Gdyś wydał, niech przepadnie przysłowie przechwalcze,
Że gad nigdy w Erynie lęgnąć się nie może..
Patrz na to zimnokrwiste stworzenie padalcze,
Co wciąż jeszcze na piersi królewskiej ma łoże.

Krzyczcie, pijcie, ucztujcie! Erynie! jeżeli
Wrogi los w toń cię zepchnął — to to przywitanie
Tyrana w stokroć gorszej nurza cię topieli,
Co raz głębiej w przepastne strącając otchłanie.

Mój głos, choć nikły, zawsze twe podnosił prawo,
Człowiek wolny, jam głosił twą wolność w potrzebie...
Dłoń, choć słaba, miecz chciała wziąć na walkę krwawą,
A serce, choć znękane, wciąż biło dla ciebie

Tak! Jam kochał Cię, luboś ty nie moją ziemią,
I twych synów, co byli z serc i ducha sławni
I płakałem ze światem nad tymi, co drzemią
Pod mogiłą — lecz teraz nie płaczę jak dawniej.

Gdyż szczęśni ci, co w głuszy spoczęli grobowej,
Zdaleka — Grattan, Curran,[7]) Sheridan — ci, którzy
Niegdyś byli wodzami w tej walce wymowy,
Co srom twój odkupili, lecz nie zwlekli dłużej.

Tak! szczęśliwi są oni w Anglii grobach chłodnych...
Twe okrzyki ich cienia zdumieć nie są zdolne...
Ni też deptać nie będą ich prochów swobodnych
Gnębiciele Erynu, ni sługi powolne.

Dotychchczas synom Twoim zawsze zazdrościłem,
Choć twa wolność zginęła, a kat cnoty chłoszcze,
Gdyż takiem tchnęło cieplem podniosłem i miłem
Z serc irlandzkich... Dziś twoim umarłym zazdroszczą.

I tylko we mnie wzgardę przytłumia na chwilę
Dla ludu, co służalczość w chwiejnej ma naturze,
Co deptany jak robak, nie urąga sile, —
Twoja sława Grattanie i twój geniusz Moorze.[8])

Tłum. Władysław Nawrocki

---

[3]) Koniczyna jest symbolem Irlandyi.

[4]) Grattan jest jednym z bohaterów Irlandyi. Był to mąż z r. 1782, który, jak powiada Brandes, „uczynił Irlandczyków narodem". Kiedy Anglia postanowiła znieść parlament Dubliński, pomimo to, iż Grattan był już złamanym i niebezpiecznie chorym starcem, postanowiono wybrać go znowu, w przeświadczeniu, iż piorunująca wymowa jego zwycięży. Stało się jednak inaczej, rząd bowiem przekupił potrzebną liczbę członków opozycyi.

[5]) Temi słowy poczynała się piosenka, wyszydzająca Jerzego IV, a pochodząca z czasów, gdy monarcha ten był jeszcze księciem regentem.

[6]) Castlereagh, wyrodny Irlandczyk, był sekretarzem do spraw irlandzkich; do końca życia swego, a nawet i po samobójczej śmierci, był on celem zgryźliwych epigramatów Byrona i Moore'a.

[7]) Curan, sławny adwokat, niezmordowany i wymowny obrońca irlandzkich podsądnych z r. 1798, jeden z najznakomitszych i najbardziej poważanych mężów w kraju. Jego to córkę, miss Sarę, ukochał narodowy bohater Irlandyi, Robert Emmet, stracony w 23 roku życia (1803 r.), jako stojący na czele spisku dążącego do utworzenia niezależnej rzeczypospolitej irlandzkiej, opartej na przymierzu z francuską.

[8]) Czytać należy Murze. Tomasz Moore (1780—1852), Irlandczyk z urodzenia, współczesny Byronowi poeta angielski, przyjaciel i biograf jego. W swych nieśmiertelnych "Melodyach Irlandzkich" wypowiada on bóle narodu swojego. Pisał je, jak sam przyznaje, pod natchnieniem wspomnień o Emmecie, którego był druhem serdecznym.

Dla korony.

(Franciszek Coppée: Pour la couronne. Paryż, 1895.)

Prawdziwy syn Paryża, w utworach powieściowych nie wychodzący z jego przedmieści i okolic, miłośnik wzorów miejskich i zaciszy przyrogatkowych, w poezyi i niemniej często w dramacie, Franciszek Coppée ulatuje nad przestwór stolicy francuskiej i oba brzegi Sekwany. Myśl jego przenosi się wówczas w urocze krainy wschodu, szybuje pod błękitem Włoch, osiada na rozkwitłych drzewach pomarańczowych Andaluzyi. Cofa się w przeszłość, pod jej sklepieniami szukając piękna duszy i podniosłości. „Lutnista z Kremony", „Severo Torelli", „Jakobici", „Błogosławieństwo", wystarczą za przykład.

Obecnie w poszukiwaniu widoków i nowych wrażeń myśl ta pobiegła na szczyty Bałkanu, kryte śniegiem i wieńczone jodłą. Tu w pobliżu wąwozów, ciasnych drożyn górskich i przejść, które głaz duży zawala, strzelił w niebo basztami i wieżycami zamek Michała Brankomira. Gdy słońce mgłę rozpędzi, oko widzi z niego wierzchy okoliczne, przestrzeń

---

jeszcze coś, co tkwiło po za spojrzeniem i wydostać się chciało na zewnątrz.

— To też w jego towarzystwie byłaś zawsze nieswoja... zauważyłem to.

— Być może. Nie jestem z drewna. Ale właściwej przyczyny tego zgadnąć nie możesz. Było to coś... coś prócz spojrzenia. A takie oczy widywałam już nietylko u niego.

Znowu przeszedł ją dreszcz i wzdrygnęła się. On pociągnął ją ku sobie, objął ramieniem i przytulił do siebie.

— Jesteś rozdrażniona — mówił uspakajająco głaszcząc ją delikatną dłonią... Ta śmierć wstrząsnęła cię. Znało się człowieka... brało się udział w jego życiu i czuło się, że i on żył z nami. Przyzwyczailiśmy się spotykać go na tem samem miejscu, o tej samej godzinie, a teraz nagle niema go — miejsce, które zajmował jest puste, nie przyjdzie nigdy więcej, tylko gnije gdzieś pod ziemią.

Zresztą — tu głos jego zmienił się — Haynascha właściwie mi nie żal. Był mi zawsze raczej niesympatyczny. Było w nim coś nieprzezroczystego... coś — jakże to powiedzieć? jakby miał nieczyste sumienie...

Kobieta pozwalała się pieścić i patrzyła martwym wzrokiem w dal.

— Mnie się też tak zdawało. Zawsze miał coś, co ukryć pragnął, albo walczył z jakiemiś myślami, których pozbyć się nie mógł. Nie wiem, czy to było coś rzeczywistego, czy coś wmówionego, plama na jego duszy, czy jakiś stosunek życiowy, z którym nie chciał się wydać, czy może coś obcego, wyczytanego, co osiadło niby proch na jego życiu wewnętrznem. Ale było to coś, co napełniało go strachem — a strach ten przebijał mimo jego rutynowanych form towarzyskich

— Tak, ja go nie znosiłem.

— On to czuł. Ale też nie szukał ciebie. On szukał mnie.

— Nie mówże głupstw Jenny.

— Dobrze. Nie mówmy o tem. Ale coś w tem było. On chciał sobie jakoś ulżyć. Chciał wyrzucić z siebie to, co dręczyło go, albo miał pod tem zginąć. Chciał wypowiedzieć to wszystko przedemną... a przecież zostawało niewypowiedzianem, na dnie jego duszy... na mówienie nie mógł się zdobyć.

— Czemuż nie pomogłaś?

— Ja? silnym ruchem wysunęła się z jego ramion i spojrzała mu prosto w oczy. Jakżeż mogłabym to uczynić, jako twoja żona?

— Znowu bałamucisz rzeczy nie należące do siebie...

— Przepraszam. (gwałtownie) Ja nic nie bałamucę. Cóż ty właściwie sobie myślisz? Czy ty myślisz, że mężczyzna może kobiecie albo chce kobiecie oddać duszę swoją z całą, pełną, głęboką, nieskończoną ufnością, jeżeli nie wie, że może mówić do niej, jako mężczyzna do kobiety, a że ona jako kobieta mu odpowie. Jeżeli mężczyzna to potrafi, to nie jest mężczyzną, albo ona nie jest kobietą, albo wszystko razem jest tylko wielkiem estetyczno-etycznem zboczeniem. Słuchaj, a opowiem ci coś. Było to ostatnim razem, kiedy go spotkałam. Byłam w mieście, żeby z biblioteki przynieść książki. Jedliśmy obiad w zwykłem towarzystwie, z którem mało mówił, byliśmy razem w kawiarni — a potem pożegnałam się z nim, by się nie spóźnić do pociągu. Chciałam, ponieważ droga do pociągu daleka, wsiąść do dorożki. Ale on stał z paką książek w ręce i patrzył na mnie bojaźliwem, trwożnem spojrzeniem i nie poszedł za mną w miejsce, gdzie dorożki stały. Postanowiłam więc iść pieszo i szliśmy razem. On mówił po drodze swoim zwyczajem o niedoskonałości w zapatrywaniach i w moralności, w utworach artystycznych i w indywidualnościach naszych czasów. Czułam jednak, że o to nie chodziło mu wcale, że zmierzał gdzieindziej — do czegoś, co stanowiło istotę jego własnej duszy, co było ową osią, koło której skupiało się wszystko.

— I dowiedziałaś się, o co mu szło?

— Czułam, że zbliżał się do tego, im szliśmy dalej. Właściwie nie powinien był iść ze mną. Była to godzina jego pracy w bibliotece. Ale uśmiechnął się tylko w swój dziwny

zieleni, a w dole u stóp olbrzymów złociste morze zbóż. Równinę bułgarską, „żółtą od kłosów pszenicy, jakby skóra lwia, na niej jak miecz stalowy rzucony Dunaj szeroki“.

Te wierzchy, duch wolności spowija, to zakątek równin jedyny w pęta nie zakuty. Turecka powódź tylko o te granity jeszcze rozbryzguje się. Tu tylko, gdzie jak wilk u wnijścia do swej pieczary, broni się Brankomir, nie powiewa buńczuk i nie błyszczy półksiężyc. Reszta ziem bałkańskich uległa przemocy i zdradzie. A i w owe strony Mahomet II wciąż wysyła wojska i wciąż bezskutecznie straty ponosi.

Dramat „Dla korony“ osnuty na tle walk Słowian z Turkami.

Na wałach zamku Albańczyk Benko z gęślą na ramieniu ogląda okolicę. Urosz, weteran Brankomira siadł na ławie, młody żołnierz, Łazarz, objaśnia gęślarzowi widok.

„Skanderbeg umarł, Huniady umarł, od Warny aż po Budę zgliszcza i ruiny. W Polsce przy drogach boże męki krwią spłynęły, każda sama z siebie, z boleści wielkiej, iż ćwierć świata chrześciańskiego Mahomet zdobył. W Pradze obraz Bogarodzicy pobladł. Cała Europa zachwiawszy się pod ciosem osmańskim załkała.

I jeden tylko biorąc dziesięciu wrogów na każdy palec, jedyny chrześcianin, Michał Brankomir, podjął walkę przeciw obroży i jarzmu, meczetowi i baszy. Na białym proporcu wyszył Chrystusa ze złota, a władca Widynu za radą jego odesłał sułtanowi tytuł emira i dani odmówił. Uderzył dzwon ratunkowy, zardzewiałe szable wybłysnęły z pochew, armaty z gór lunęły deszczem śmierci ku dołom, gdzie obóz Turków rozłożył się. Wąwozy obsadzone, potoki zarumieniły się krwią wrogów i obrońców. Od dwunastu lat walczymy i snać tygrys stępił już sobie pazury, w łapy ciernia nawbijał. Zapewne, leży tam na równinach, ale zmalała jego zawziętość, kły o skałę się starły.

My tu zawsze czuwamy. A jeśli dziś dojrzysz pewne naprężenie na twarzach, zajęcie jedną myślą, to nie obawą wroga. Król stary umarł, nowego obieramy. Nami, narodem wolnym, tylko przez nas wybrani rządzą. Wszyscy prawie wiemy, kto nim będzie: biskup Stefan, który modlitwą i słowem do boju zagrzewał. Lecz i Brankomir z namowy drugiej swej żony, księżniczki bizantyjskiej, Bazylidy, o tron się ubiega. Tam w gmachu czeka niecierpliwie na posłańca ze stolicy“.

Bazylida jest głownią, z której rozpali się pożar.

Wszedł. Nie posłaniec, lecz nowy król. Jest nim biskup Stefan. On wie, że wybór winien był paść na Michała, nie położył przecież zasług godnych stanąć na równi z czynami wodza. Ale będzie mu szczerym doradcą, a kiedy wnet powieki zamknie, Turczyn pewnie daleko będzie odparty od gór, może z Carogrodu wygnany i Michał nad większem jeszcze królestwem siądzie do rządów.

Lecz ani słowa Stefana, ani wrodzona Michałowi obojętność dla blasku zewnętrznego nie mogą oprzeć się wpływom Bazylidy. Jak wąż okręciła się około duszy bohatera, coraz ścieśniając sploty. We wnętrze jego rzuciła ziarno cykuty i uprawiała pod nie grunt, polewała je namowami i nakłanianiem. Puściło nareszcie robaczkowy korzeń, wychyliły się z łodygi listki strzępione jadowitej rośliny.

Pobudzany i kaleczony w dotkniętej dumie, Michał uległ żonie. Sułtan przez swego szpiega Benkę przesłał ferman, który zdrajcy, przeprowadzającemu armię przez wąwozy, nadawał władzę królewską. Dziś w nocy Michał tego dokona...

Marznie oddech w powietrzu, prosto w górę ciągnie dym z łuczywa, które trzyma w dłoni góral, stojący na czatach. Zimno, a świetlnie. Smolny stos sygnałowy, który ma być zapalonym w razie zbliżenia się wroga, cały opromieniony księżycem, starodawna droga rzymska jasno bieleje na grzbiecie góry, opodal na pół zwalony łuk tryumfalny widny jak na dłoni.

Wyiskrzyły się gwiazdy, wypatrzyły się oczy widnokręgu, a to zły znak. Powiadała matka — mówi do siebie góral — że kiedy gwiazdy tak patrzą, jakaś zbrodnia wisi w powietrzu. Jakaż zbrodnia?

Minęła północ, ręce kostnieją z chłodu; czy nikt nie przyjdzie odmienić warty?

Przybywa sam Michał. Wódz, którego skronie oplotły wawrzyny, zdepce je dziś i shańbi. Starzec o włosach siwych rzuci garść błota na swą głowę. Wkrótce płyty drogi zadźwięczą od kopyt generała Otorgula, a on nie wyda sygnału. Lecz będzie miał koronę.

Wtem z drugiej strony wąwozu wynurza się cień. Ze skał wychodzi syn Michała, z pierwszego małżeństwa, Konstantyn. Dzielny młodzian. Od dziecka ścinał się z Turkiem, nie zna trwogi. Nie drżał nigdy i nigdy nie splamił się okrucieństwem.

Podczas jednej utarczki wziął do niewoli dziewczynę Milicę, cygankę, błąkającą się przy obozie tureckim, biedne upadłe stworzenie, rozrywkę żołnierstwa. Nie traktował jej ze wzgardą, darował wolność, i deptane, hańbione dziecko przywiązało się do młodego rycerza, jak pies uratowany z rynsztoku. Ona to poznawszy w Benku jednego z wojowników osmańskich, zaczęła go śledzić, a dopatrzywszy częste schadzki z Bazylidą, wpadła na domysł zdrady. Za jej podnietą Konstantyn ukrył się w izbie ojca i podsłuchał rozmowy małżonków.

Nie wierzył jednak, aby ojciec mógł dotrzymać przyrzeczenia, danego żonie w chwili zapomnienia. Na pytanie Michała, po co przyszedł, odkrył, że wie wszystko, lecz zarazem, że czci w nim twórcę wielkiego pomysłu. Tak, niech Otorgul z armią wkroczy w pół wąwozu, niech się ma za bezpiecznego, wtedy obaj zapalą stos i Turcy do nogi wyginą.

Plan powzięty wkorzenił się zbyt mocno w duszę wodza. Nigdy tego nie będzie — odpowiada.

— Opuścisz naszą granicę, Turcy spustoszą cały świat chrześciański?!

— On był mi niewierny.

— I wiarę?

— A czy dała mi koronę?

Spór rozpala się coraz zacieklej. Syn wpada w rozpacz. Ojciec zdrajcą... Wojownicy zabici będą w grobach swych jęczeć za jego zbrodnię, zdobyte na baszach chorągwie spoliczkują go, gdy wejdzie do świątyni, gdzie wiszą. Korona czoło mu spali.

— Ustąp! — woła ojciec. — Pókim żyw, nikt stosu nie zapali.

Szczęknęła w dali broń Turków, Konstantyn zbliża się do stosu. „Gdybym miał nawet ojcobójcą zostać, nie ulegnę hańbie“. Dobywa miecza, ojciec również; po krótkiej walce Michał pada zabity.

Jak błyskawica przebiegły sygnały po górach, gdy Konstantyn zapalił stos. Otorgul w zasadzce stracił życie. Po bitwie u stosu znaleziono ciało Michała. Sądzono, że legł z ręki podjazdu tureckiego i w Widyniu posąg mu wzniesiono. Następcą jego mianowano Konstantyna.

Lecz Erinny spadły na nieszczęsnego młodziana. Erinny orestowskie, ścigające ofiarę przez morza i lądy, dniem i nocą. Widmo ojca wciąż staje przed nim i darmo tłomaczy sobie, że zabijając rodzica, uratował jego cześć, że postępując inaczej, byłby zgubił ojczyznę i sławę rodziny. Krew opływa go wszędzie: widzi ją na mieczu i szatach i w czarze z winem. Nocą nieraz zrywa się z pościeli, pada na kolana i w piersi swe za pokutę twardym kamieniem uderza.

Erinny jak zawsze wiodą tan w koło niego, z rozpuszczonym kruczym włosem i pochodniami w ręku.

Spostrzegają wreszcie niepokój i wzburzenie wodza żołnierze; zdziwienie ich i nieufność wzrosły, gdy Konstantyn, zamieniwszy dotychczasową walkę odporną na zaczepną, wywiódł ich równie na klęskę. Zaczynają podejrzywać go o zdradę. I w chwili, gdy król Stefan bierze młodzieńca w obronę, gdy chcąc dowieść

---

sposób, gdy mu to przypomniałam. Książki były ciężkie i chciałam zawołać expresa. Uśmiechnął się znowu i dźwigał je dalej. Wreszcie przyśliśmy na dworzec. Weszłam do poczekalni. Nie odchodził. Powtarzał tylko ciągle podczas rozmowy: „Pani by to zrozumiała z pewnością“.

I jego jasne, okrągłe, niespokojne ptasie oczy, patrzyły na mnie spojrzeniem, które mówiło o wszystkiem, co niewypowiedziane na dnie jego duszy leżało... tej duszy, co oddać się chciała i prosiła jeno, aby jej nie odpychać. Tylko słowa, które wypowiedzieć to miały, były jakby gdzieś w oddali, jakby uchwycić je było niepodobieństwem. Portyer otworzył drzwi i recytował całą litanią stacyi. Pożegnałam się i wyszłam na peron. On pożegnał się i poszedł za mną na peron. Weszłam do coupé, on stanął, oparłszy nogi o schodki wagonu. I oczy jego mówiły dalej, i cała istota jego była jakby spowiadaniem się z czegoś ukrytego, jakby więzy jakieś spadały nagle. Przy końcu pociągu z szelestem zamykano drzwi, on nie słyszał tego. Konduktor przechodził i powtarzał swoje: „Siadać proszę“. A ja wyciągnęłam rękę i mówiłam: „Siadaj pan i jedźmy razem, będzie panu dobrze na wsi“ i co się jeszcze mówi, jeżeli się chce przekonać kogoś, o kim się czuje, że pragnie być przekonany. On uczynił nagły ruch, jakby coś ciężkiego rzucał za siebie, twarz jego rozjaśniła się, nabrała wyrazu stanowczości i już stawał w drzwiach coupé. Usunęłam się, żeby go przepuścić i przytem, z przyzwyczajenia mieszania twojej osoby do wszystkiego co mówię, wyrwały mi się słowa: „A gdy tak razem z panem przyjadę, jakżeż się też mój mąż ucieszy“. On wzdrygnął się, czułam to najwyraźniej, choć nie uczynił żadnego ruchu. Konduktor już miał drzwi zatrzasnąć.

— Nie mogę — rzekł z prędkim oddechem — zapomniałem... muszę jeszcze... Instynktownie spojrzałam mu prosto w oczy. Ale oczy te miały jakiś wyraz wpół nieprzytomny. I zanim byłam w stanie słowo powiedzieć, już go nie było. a drzwi zamknęły się z trzaskiem. W tej sekundzie pociąg ruszył.

— Nie mówiłaś mi o tem nigdy — rzekł mąż.

— Nie mogłam. Nie było to moją własnością. Był to kawał jego istoty, do której nie miałam prawa.

Mężczyzna odrzucił wypalone cygaro i milczał.

— Moim zdaniem w tem wszystkiem jest coś nienormalnego — powiedział po chwili. — Jeżeli myślisz, że miał coś na sercu, a tem czemś nie była zazdrość, że ja jestem tym szczęśliwym, co posiada ciebie...

— Nie inaczej rzecz się miała.

— W takim razie, czemuż nie wyspowiadał się przed twoją inteligentną a współczującą duszą.

Kobieta wzdrygnęła się znowu tak silnie, że szklanki z herbatą zabrzęczały na stoliku.

— Boże, jakiż jesteś naiwny, jak kolosalnie naiwni są wszyscy mężczyźni!

A potem:

— Przecież chcę spokojnie o tem z tobą pomówić. Bo teraz muszę wyspowiadać się przed kim, kiedy on nie żyje. Muszę mieć kogoś, co stanie między mną a nim, żeby już nie mógł zbliżyć się do mnie. Bo musisz wiedzieć, że jak taki raz odejdzie, to wraca ciągle... znowu i znowu.

— Doświadczyłaś tego już przedtem.

— Tak doświadczyłam tego przedtem i doświadczam tego znowu. Najpierw są to tylko oczy... zjawiają się nagle przedemną, spoglądają na mnie i mówią, a wypowiedzieć nie mogą tego, co pragną. A potem przesuwa się cały człowiek koło mnie, jak cichy prąd powietrza. Ale najczęściej są to jedynie oczy, te oczy z tem czemś niewypowiedzianem na dnie, i każdy drobny szczegół jego postaci, palce u rąk, trzymanie szyi i śmiech, przy którym twarz się nie śmiała. To wszystko staje nagle przedemną, i znika, i już nic niema. Ale te oczy, one zostają i patrzą na mnie, gdziekolwiek idę i co

zaufania względem niego, przyrzeka towarzyszyć mu w walce, występuje oskarżycielka, Bazylida. Nawet po zgonie męża nie mogąc rozstać się z myślą o koronie, doradziła przyjęcie fermana pasierbowi, a gdy ten propozycyę odrzucił, przed królem i jego orszakiem złożyła list sułtana, wydarty jakoby Konstantynowi.

Wojska wróciły ze zwycięzkiej bitwy, biskup prowadził je na nieprzyjaciela. Nowe trofea i tryumfy. Kipi plac publiczny w Widyniu, wypełnił go lud, oczekując wyroku na Konstantyna. Po wyroku odbędzie się zaraz egzekucya. Król przedtem każe przyprowadzić oskarżonego.

— Czy poznajesz ojca? — pyta. Przez dwanaście lat zasłaniał nasz kraj, aż zginął w jego obronie. Ze zdobytych przezeń armat ulaliśmy mu posąg. Ty, syn jego, zamiast wstąpić w ślady bohatera, zdradę miałeś knować. Oskarżają cię o zbrodnię najstraszniejszą w świecie. To chyba nieprawda, oczyść się, usprawiedliw.

A posąg jeźdźca zbrojnego, Michała Brankomira, opromieniło słońce i czoło ozłociło aureolą. Broń zabłysnęła, jak wtedy, gdy przeciw wrogowi ojciec ją gotował. I błysk ten i światłość w duszy wszystkich otaczały pamięć dawnego wodza. Jedno słowo starczyłoby podsądnemu do uwolnienia się. Ale to słowo padłoby błotem ulicznem na posąg, chmurą na słońce, wstydem na sławę. Ów jeździec runąłby pod jego naciskiem w pył, runąłby strzaskany, rozbity w kawały, zdeptany.

Konstantyn nic nie odpowiedział. Nie chciał być dwakroć ojcobójcą.

Wyrok zapadł okrutny. Ni stos, ni miecz, lecz życie. Uwiązanym będzie aż do śmierci u podnóża posągu ojcowskiego, a każdy przechodzień w twarz mu plunąć winien.

Wtedy Milica przez tłum przewija się. O ojcobójstwie nie wie, lecz wie, że Konstantyna kocha i że on nie zdradził. Życie, jakie mu pozostało, nie jest życiem. I z zanadrza dobywszy sztyletu, który otrzymała ongi w podarku od lubego, przebija mu serce. Potem sobie odbiera życie.

Powodzenie, jakiego doznaje dramat Coppéego na scenie i w wydaniu książkowem (sto dwadzieścia przedstawień w ciągu pięciu miesięcy i piętnaście wydań), słusznie spotkało piękny ów utwór. Mimo formy dramatycznej robi on na mnie wrażenie poematu. Styl jego przypomina wiersz Schillerowski, jak u Schillera nikt w życiu tak nie mówi, a jednak każde zdanie robi wrażenie przyjemne.

Podobnie jak w poemacie epicznym, nie przekraczającym średnich rozmiarów, wykończoną jest w „Pour la couronne“ psychologia jednej zwłaszcza osoby — bohatera. Konstantynowi przyglądamy się w różnych chwilach życia: gdy przyprowadza jeńców z pola bitwy, gdy targa się na swe uczucia synowskie i honorowe, idąc podsłuchiwać ojca, gdy go zabija i opłakuje. Milica, jako dzieląca z nim główną rolę, wykonana także pełniej. Stefan, Michał, Benko, Bazylida, wszyscy żywi i prawdziwi, na drugim już stoją planie. Także bardziej poematowem wydaje mi się zakończenie: wobec czytelników usprawiedliwiony Konstantyn, nie jest nim wobec pozostałych przy życiu osób dramatu. Zstępuje do grobu ze swą pozorną hańbą.

Upatrzone przez kilku krytyków francuzkich podobieństwo dzieła Coppéego do Schillerowskiej Orestei, nie jest uzasadnionem. Istnieje tylko pewna analogia w cierpieniach z powodu ojcobójstwa między Orestem i Konstantynem. Konstantyn ginie dla tego, że chce zginąć, że życie dla niego urok straciło, nie, że uderzył w niego topór fatalności. Bliższy on jest czasów naszych, niż greckich.

W. Bugiel.



BADANIA NAUKOWE.

Rola kulturalna kobiety.

W mauzoleum kobiecem na wystawie w Chicago, ze stosów gałganków i świecideł wyróżniał się swoją oryginalnością dział etnograficzny indyjski, urządzony przez uczonych z fundacyi Smithsońskiej. Umiejętna ręka zgromadziła tam wszystkie dzieła kunsztu niewieściego, właściwe okresowi dzikości oraz barbarzyństwa i tem samem przed okiem widza roztoczyła dokładny obraz krzątań i obowiązków naszej dalekiej prababki. Twórcą tego pomysłu był Otis Mason, kurator departamentu etnograficznego w narodowem muzeum Stanów Zjednoczonych, znany od dawna ze swoich prac w zakresie antropologii. Prawdopodobnie wtedy przyszła mu też myśl przedstawienia w książce tego, co unaocznił przed gośćmi Białego grodu w taki namacalny sposób. Powstało dziełko, traktujące o udziale kobiety w kulturze pierwotnej, a poświęcone „wszystkim białogłowom, które swoim mózgiem lub wysiłkiem mięśni przyczyniły się do postępu w świecie“ *). Praca to po pierwsze popularna, powtóre zaś na wskroś amerykańska. Zwłaszcza to ostatnie piętno rzuca się w oczy. Autor żyje w społeczeństwie, gdzie płeć żeńska jest par excellence warstwą wykształconą na humaniorach i do tego uczestniczącą oddawna w życiu publicznem swojej ojczyzny. Skutkiem tego w dziele Masona niema owego kwaśnego rutynizmu, który rad jest, kiedy uda mu się przypiąć łatkę prądowi emancypacyjnemu, ani też naiwnie różowego optymizmu, biorącego ideał przyszłości za istniejącą rzeczywistość. Etnograf waszyngtoński uznaje słuszność żądań, stawianych przez kobietę, acz jednocześnie uświadomił sobie, że uprzednie wieki w niej samej zasiały ziarnko przesądów, które stają na drodze urzeczywistnianiu owych dążeń. Ameryka wychodzi na jaw nawet w powierzchowności książki: w mnóstwie rysunków, które świetnie ilustrują myśl autora. W ich wyborze uwydatnia się pomysłowość zamorska. To przed okiem przesuwa się pierwowzór karyatydy, to znowu Najad — kobiety indyjskie podczas pewnych zajęć. Czytelnik tem samem dochodzi do wniosku, że postacie mitologiczne swoją nawet postawą ujawniają własny rodowód, mianowicie, iż są przeniesieniem do mitu istotnych stosunków i położenia. Nadmieniliśmy, iż praca O. Masona jest dziełem popularnem, przeznaczonem dla ogółu szerokiego. Ale nie zapominajmy, że książka przystępna, napisana przez takiego badacza, jak etnograf zamorski, który życie całe spędził wśród zbiorów kultury indyjskiej i ciągle ma do czynienia z poszukiwaniami bezpośrednio, przedstawia bezwarunkowo większą wartość naukową, aniżeli olbrzymia kompilacya uczonego, czerpiącego całą mądrość z ręki drugiej. Tamten nadając swoim wywodom formę jak najdostępniejszą, zawsze wnosi wiele nowego i oryginalnego. Tak dzieje się w dziele Masona. Z tego powodu zatrzymamy się nieco szczegółowiej nad zasadniczymi punktami książki o udziale kobiety w kulturze pierwotnej.

Pierwszy podział pracy w społeczeństwie ludzkiem, to podział zajęć pomiędzy obu płciami, wynikający z odkrycia ognia i sposobów jego krzesania. Podstawę tego zróżniczkowania stanowi odmienna przyroda fizyczna mężczyzny i kobiety: pierwszy z natury swojej jest żywiołem ruchliwszym. Jego obowiązkiem stało się dostarczanie zwierzyny i obrona plemienia, tymczasem kobieta zajęła się dopilnowywaniem ogniska. Nasz pradziad polował i wojował i co za tem idzie ulepszał te sfery techniki, które są w związku z wymienionemi czynnościami, natomiast niewiasta objęła w swe posiadanie zakresy działalności, pokrewne wspomnianemu obowiązkowi. Podczas niższych okresów rozwoju kulturalnego płeć męzka była warstwą wojowniczą, żeńska zaś to klasa pra-

*) Woman's share in primitive culture. New York u Appletona.

---

robię, i stanowią jakby jakieś zbliżenie fizyczne, jakby jakiś szept w ucho.

Znowu coś nią wstrząsnęło.

— Boże, jak się nagle oziębiło. Chodź do pokoju.

— Nie czuję zimna.

— Wziął ją uspakajająco za rękę.

— Jesteś dziś strasznie zdenerwowana.

— To naturalne. Ale to nic nie znaczy. Czuję tylko dziś silniej niż zwykle te ukryte nici, co łączą człowieka z człowiekiem. Czuję, że często jedno marne nic rozstrzyga, czy nić się zrywa, i jeden rzuca się w bezdenną głębię, gdy drugi spokojnie, nie zauważywszy nawet tego, idzie dalej. Mam to silne przekonanie, że tak było z Haynaschem...

— Tak, ale czemuż nie mówił, kiedy przecie zaczynałaś?

— Czemu?

Długo patrzyła w ciemną ciszę nocy, co zdawała się nieprzezroczystą i czarną i ogarniała ją, niby gęsta wełniana tkanina. Potem zaczęła wahająco, jakby szukając słów...

— Czemu? powiedziałam ci to już przedtem. Bo mężczyzna tylko tej kobiecie może się oddać z całą ufnością i bezwzględnie, i bez upamiętania, ze wszystkiem, co stanowi może błąd jaki, może plamę, albo jaki rys chorobliwy, albo fizyczny brak, albo wyrzut sumienia, albo zawstydzenie się, albo zbłądzenia z drogi w ciasną przecznicę... i wszystko to, co gnębi go i dręczy, tylko tej kobiecie odsłonić może, która równocześnie mu się oddaje, jemu jedynie...

A ja nie mogłam być jego... o tem przez chwilę zapomniał. Dla tego wysiadł, jak wymówiłam twoje imię. Milczał i poszedł dalej. Od tego czasu nie widziałam go więcej... Nie! widziałam go jeszcze raz później. Ale był już całkiem inny, roztargniony i wymuszony. Robił wrażenie, jakby w połowie zdania chciał odejść, a przecież zostawał dalej. Ale w tem pozostawaniu przy mnie już nie było żadnego wypowiadania się przedemną... Było coś nerwowego w jego głosie, jakby miał do mnie żal jaki...

Z pokoju padał szeroki, ciepły snop światła na balkon. Służąca wniosła zapaloną lampę i postawiła ją na stole. Światło padało na stare tkaniny rozwieszone po ścianach, na biurko mahoniowe, o cienkich, toczonych nogach, na gałęzie bukowe i ogarnęło miękkiem dotknięciem sztych przedstawiający „Wyspę śmierci“ Böcklina.

Mężczyzna i kobieta przeszli z balkonu do pokoju.

— Może ty masz i słuszność, może on już wtedy postanowił odebrać sobie życie.

— Prawdopodobnie.

Siadła na szeslongu, a głowa jej o krętych włosach opadła na dół.

— Już teraz nie dręczy go nic. Ale mnie pozostawił to dręczące uczucie, że może potrzeba było tylko nieco delikatniejszego ucha — tylko o milimetr innego ruchu ręki, a byłby żył. A byłby żył tem życiem człowieka, co śmierci zajrzał w oczy i powraca do zdrowia. A kto raz wydarł się z ramion śmierci, żyje jakby raz drugi — wśród nowych dziwów świata. A cóż jest przyczyną śmierci ludzi? To, co sobie wyobrażają, co wmówili w siebie, co jakby błędne koło ich otacza, z którego niema potem ratunku i niema wyjścia. I to doprowadza ich do samobójstwa, a ludzie łamią sobie głowy, co mogło być przyczyną ich śmierci. Wpadli w wiarę swoich autosuggestyi i im bardziej wydostać się z nich chcieli, tem wpadali głębiej. Rozglądali się w koło i szukali pomocy. Dziwiono się ich ruchom niezrozumiałym i trwożnym drżeniom. Aż wszystko się skończyło... I znowu jeden... Położyła się na szeslongu.

— A teraz daj mi papierosa i nalej herbatę. Wypijemy ją razem.

cująca i przemysłowa. Wszystkie pola produkcyi dzisiejszej są płodami z nasienia, przez nią po raz pierwszy posadzonego. Ona to bowiem poznaje sztukę uprawy roli, techniki kucharskiej i młynarskiej, oraz wznosi pierwsze domostwa, ona to w ciągu dalszym odkrywa tkactwo i koszykarstwo, oprawia skóry, garbuje je i stwarza umiejętność zawodu rymarskiego, lepi pierwsze garnki, jest górnikiem, tragarzem i mnóstwo innych działów pracy prowadzi. Mężczyzna w najpierwszym okresie dziejów jedynie mordował i uganiał się za zwierzyną, jego zaś towarzyszka krzątała się około ugruntowania naszej władzy nad kapryśnicą przyrodą. Rutynicznych mędrków, którzy najczęściej myślą swoją po za własny nos nie sięgają i na podstawie wązkiego doświadczenia z paru ostatnich wieków lub z życia próżnującej i zwyrodniałej damy, odmawiają mózgowi kobiecemu wszelkiej twórczej inicyatywy, odesłałbym właśnie do studyów nad historyą kultury, ażeby przypatrzyli się, co zdziałał umysł żeński w ciągu pierwszych szczebli rozwoju społecznego. Nie mężczyzna to bowiem, ale właśnie kobieta położyła pierwszy kamień węgielny pod cały gmach dzisiejszej techniki naszej. Pierwotnie jedynie dozorczyni ogniska, do najpierwszego swego obowiązku zwolna przyłączała wciąż nowe zakresy działalności, doskonaliła je i rozszerzała, aż póki wreszcie nie nadszedł przewrot i mężczyzna nie przywłaszczył sobie jednego zajęcia po drugiem, pozostawiając swojej towarzyszce dozorowanie tylko kuchni i niańczenie potomstwa. Trudno zapuszczać się w szczegóły, jak odbywał się ów rozwój i jak z prostych umiejętności z biegiem czasu tworzyły się coraz bardziej złożone, chociaż książka Masona zawiera w tej mierze mnóstwo oryginalnych poglądów.

Natomiast podkreślić musimy wciąż powtarzane przez etnografa waszyngtońskiego zdanie, jako w żaden sposób nie należy mniemać, że nasza daleka prababka była niewolnicą, z którą obchodzonoby się jak z bydlęciem jucznem. Mason słusznie mówi: „Założenie to na wskroś opaczne, że jakakolwiek odmiana zwierząt zdołałaby wytrwać i istnieć, wśród której systematycznie ciemiężono jedną połowę — matki. Zgodnie z prawem wyżycia najdzielniejszego, szczep ludzki, w którym istniałaby brutalność tego rodzaju, po prostu stoczyłby się w przepaść i wreszcie musiałby zniknąć z powierzchni globu ziemskiego“. Autor, opierając się na dobrze sobie znanych faktach życia indyjskiego, dowodzi, że grubiaństwo ze strony mężczyzn zjawiło się wśród barbarzyńców rasy czerwonoskórej dopiero pod wpływem wzorów cywilizacyi europejskiej i ilekroć z niem się spotykamy, tyle razy możemy być przekonani, że mamy do czynienia z najwymowniejszym dowodem rozkładu społeczeństwa pierwotnego. Zdaniem Masona, białogłowa podczas dzikości i w okresie barbarzyństwa jest istotą samodzielną i niezależną. Klasyczne podania o amazonkach stanowią jedynie wyidealizowanie tych stosunków, które na drobną skalę wszędzie istniały w postaci zaczątkowej: „Młoda Eskimoska, uchodząca za piękność, dobrze zbudowana fizycznie i zdolna pod względem umysłowym, trzymała zdala od siebie młodzież męzką. Mówiła, że jest podobnie silną jak oni i może sama polować na jelenie i używać sieci. Posiadała własną broń, którą kupiła za dochody ze swojego łupu myśliwskiego. Nie życzyła sobie spełniać robót kobiecych, przekładając te zajęcia, które zwyczaj przeznaczył mężczyźnie. Zimą nawróciła na swoją wiarę inne dziewczę, nie tak atletycznie zbudowane. Wzniosły one dom własny, tam mieszkały, postępując na przekór całej opinii publicznej rodaków. Razu jednego, kiedy były na polowaniu, obrażona gromada zburzyła ich chaty. Ale poddały się one dopiero następnego roku, wracając do zajęć właściwych płci swojej.“ Albo inny przykład. Ekspedycya amerykańska odkryła zimą samotną chatkę w pustej preryi i tam znalazła jedynie kobietę. Wzięta do niewoli przez wrogie plemię, uciekła, ale zabłąkała się w drodze. Zbudowała więc szałas, w którym przebyła przeszło pół roku, nie oglądając ani jednej twarzy ludzkiej. Utrzymywała się z polowania, zbierania płodów i bynajmniej nie cierpiała głodu; wyprawa znalazła w jej domku nawet obfite zapasy żywności. Dzieje jej to powtórzenie dosłowne historyi Robinsona, który znalazłszy się jako rozbitek na samotnej wyspie, musiał własnym rozumem próbować wszystkich kunsztów. Różnica ta tylko, że owa pustelniczka lepiej żywiła się i ubierała i nie zaznała tylu niepowodzeń. Rzecz wydaje się po prostu niemożliwą, a przecież jest zgoła naturalną i powszechną w pierwotnym bycie. Nasza nieufność wypływa z tego, iż zapatrzeni w widnokręgi cywilizacyi, która wypaczyła kobiety, nie możemy pojąć wzorów odmienaych.

Zasługują też na bliższą uwagę wywody etnografa amerykańskiego o roli, jaką odegrała kobieta w procesie kształtowania się pierwotnych pojęć kosmicznych. „Życie każdego narodu — powiada O. Mason — odzwierciedla się w jego mitologii, ta zaś z kolei znajduje swoje wyjaśnienie w pierwotnej historyi danego ludu. Życie pewnej rasy lub epoki odbiło się w jej wierzeniach i kulcie. I jedno i drugie łatwo najlepiej zrozumieć, studyując życie powszednie danego plemienia. Co zaś do kobiety, możemy z góry postawić ogólne twierdzenie, iż codzienne życie płci żeńskiej na ziemi będzie też codziennem życiem kobiet świata duchowego. Jeszcze więcej, bo znając boginie, na tej podstawie możemy odtworzyć byt kobiety w tem plemieniu, czyją mitologię badamy“. Autor twierdzi z całą stanowszością, że gdziekolwiek w pierwotnej religii jest kwestya o wychowaniu dziatwy, o utrzymaniu i wykarmieniu szczepu ludzkiego, o pieczy nad ogniem i domem, wreszcie o tkactwie, przemyśle i mądrości praktycznej, tam wszędzie występuje na jaw żywioł, właściwy atmosferze kobiecej. Odpowiednio do obowiązków, spełnianych w życiu codziennem społeczeństwa przez kobietę, umysł pierwotny wyobrażał sobie w postaci żeńskiej te osoby świata nadprzyrodzonego, które spełniały w nim analogiczne czynności. Wszystko n. p., co dawało ludziom utrzymanie, porównano z kobietą matką.. A zatem ziemia jest macierzą, bo jak powiadają zuńczycy, z jej łona wydobywają się wody podobnie jak mleko z piersi kobiety, „mięso“ zaś jej dostarcza pokarmu ludziom i zwierzętom. Bóstwa rolnictwa są równie płci żeńskiej, jako też różne upostaciowania pod formą ludzką wszelkiej rośliny. Słońce w pojęciach człowieka pierwotnego, n. p. u Australczyków, bywa kobietą: ściślej — jest to niewidzialna kobieta, trzymająca w ręku zapalona pochodnię i przyświecająca ziemi; kiedy zanadto weźmie drzewa, wtedy płomień bucha żywszym blaskiem i ztąd powstają gorąca letnie. Z mitologią wiąże się mocno rozwój mowy ludzkiej. Mason równie na tę sferę rzuca dość ciekawe światło — ze stanowiska udziału kobiety w tej sprawie. Wypowiada on zdanie, zyskujące dzisiaj pomiędzy etnografami amerykańskimi coraz liczniejszych zwolenników. Idzie mianowicie o genezę języków. Jak wiadomo, wśród rodu ludzkiego spotykamy mnóstwo rodzin lingwistycznych, z których każda rozpadą się na mniejszą sub większą ilość odmiennych języków. Lingwistyka do ostatniej chwili uważała je za wynik zróżniczkowania mowy pierwotnej, n. p. języki aryjskie powstawały w ciągu wieków z takiej mowy praaryjskiej pod wpływem naturalnego wzrostu różnic początkowo drobnych. Powell i inni etnografowie amerykańscy spostrzegli tymczasem, porównywając słowniki języków tej samej rodziny lingwistycznej na lądzie Nowego Świata, że posiadają one mnóstwo źródłosłowów, właściwych tylko jakiemuś jednemu plemieniu, nie spotykanych zaś nawet w żadnym języku innej rodziny. Naturalnym tokiem wywodów doszli oni de przekonania, że są to szczątki po wygasłych rodzinach, jako wysepki w obcym dla siebie żywiole. Zwolna wysnuli teoryę, przypominającą zapatrywania Penki na aryjską rodzinę językową. Mianowicie mowa pierwotna różniczkowała się nietyle drogą wzrostu drobnych różnic, ile przez to, że pewne plemię, rozszerzając się ze swych siedlisk, pochłaniało inne i odpowiednio zmieniało mowę swoją skutkiem wsiąkania innych. Mason przyjmuje tę hypotezę, tylko że stara się ją uzupełnić, każąc kobiecie być właśnie główną sprawczynią tego przebiegu. Między innemi usiłuje poprzeć swoje założenie faktami, zaczerpniętemi z prac nad dziejami mowy aryjskiej. Wykazuje, że zasób wspólnych językom aryjskim źródłosłowów odnosi się do pierwotnego zakresu działalności kobiecej. *K.*

NA WYŁOMIE.

(Źródło irytacyi. — Napaść. — Niezręczny grzesznik. — Apel do prasy.)

Zaledwie po krótkiej przerwie podjąłem znowu walkę „na wyłomie“, czuję się otoczonym starą atmosferą brutalnej nienawiści, która jak dżuma grasuje po kraju i jak owe mityczne ptaki, nie mogąc pochłonąć ofiary, kałem ją obrzuca...

Nie spodobało się organowi duchowieństwa naszego, że nietylko w najpoważniejszych czasopismach Królestwa i Galicyi, lecz i w niemieckich miejscowych i zamiejscowych organach rzucano od czasu do czasu nie kamienie lecz kwiaty na głowy „Młodych“ na poznańskim bruku i zaliczano ich organ do wybitniejszych publikacyi piśmiennictwa narodowego. Zdawało się redaktorom „Kuryera“, że gdy w sklepikowych okienkach swoich wywieszą dokument potępienia i śmierci dla znienawidzonego „Przeglądu“, to obowiązkiem naszym umrzeć natychmiast, a społeczeństwo całe od morza do morza i od krańców północy do granic południa błogosławić będzie ich wyrok i klątwę swoją zmiesza z ich przekleństwem. Stało się inaczej. Dziecko, któremu już w łonie matki wróżono śmierć nieuchronną i nad kołyską wyśpiewano tak straszne dziwy, że przerażone pokojówki wypowiadały służbę rodzicom jego, wyrosło zdrowo na pożytek ojczyźnie i z dnia na dzień zdobywa sobie ludzkie umysły i serca. Więc zakipiała krew w fabrykantach świętomarcińskich eksorcyzmów i posypał się grad kalumnii eksplodujących nietylko na bruku poznańskim lecz wysyłanych ręką usłużnych inkwizytorów do Warszawy i Krakowa. Jednej z nich, skompromitowanej publicznem przeproszeniem redakcyi „Słowa“, wyparła się redakcya „Kuryera Poznańskiego“, lecz zapomniawszy snać o niedawnem komedyanctwie „skrzywdzonej niewinności“ zamieszcza obecnie w łamach własnego pisma drugą edycyę tej samej kalumnii. Proszę posłuchać.

W jednem z czasopism berlińskich pojawił się artykuł, powtórzony następnie przez kilka innych dzienników niemieckich, p. t. "Die polnischen Parteien und ihre Presse“. Jest to pobieżna ocena dziennikarstwa polskiego, w której między innemi takie dla nas wystawiono świadectwo: „„Przegląd“ ma znakomitych współpracowników w każdej dziedzinie polityki, literatury i sztuki i z tego powodu zażywa w kraju i zagranicą szacunku wszystkich inteligentnych kół polskich“.

Dalej zaś:

„Wielkie pisma poznańskie, które mogłyby odegrać hegemoniczną rolę berlińskich dzienników, nie wznoszą się nad poziom miernych niemieckich pisemek prowincyonalnych; j e d y n y w y j ą t e k s t a n o w i „P r z e g l ą d P o z n a ń s k i““.

Takie uznanie dla organu zwalczającego stale wybryki Kuryerowego lojalizmu, rzuciło popłoch w kadry klerykalnego stronnictwa i oto bez namysłu wydobyto z arsenału dziennikarskiego ulubiony granat oszczerstwa, aby zburzyć ten szaniec narodowy, któremu nawet wrogowie nie odmawiają szacunku. Granat pęka i z wnętrza swojego wyrzuca frazes następujący:

„Przysięgać na to nie możemy, że stanął p e w i e n r o d z a j k a r t e l u m i ę d z y p r a s ą s z o w i n i s t y c z n ą n i e m i e c k ą a „Orędownikiem“ i „Przeglądem“, ale pozory przemawiają za tem“.

Miałbym ochotę zawołać z Byronem: „Ile się zmieści kłamcie! nazwą to zręcznością.

Oszczerstwo wszelkie ujdzie wam za dowcip", — ale słowa genialnego lorda mierzyły w serce wirtuozów dziennikarskiego bandytyzmu, wszystko zaś co z redakcyi „Kuryera" wychodzi nosi na sobie nieśmiertelne piętno łapy złej ale — niedźwiedziej. Grube, ciężkie, niezgrabne i ordynarne gra na klawiszach grzechu bez finezyi Mefista i pochodzi chyba z inspiracyi owych nieczystych duchów, którzy w piekle trudnią się — rąbaniem drzewa. Jedno tylko zadziwiać musi ludzi bezstronnie myślących, że duchowna kontrola tolerować może tak — dyletancką robotę. Pisma klerykalne nauczyły nas wprawdzie, że szukać w ich łamach etyki z latarnią Diogenesa jest straconym trudem, — ale w tej potężnej armii spotykaliśmy właśnie artystów występku, rafinowanych mistrzów kalumnii, — tu zaś na poznańskiej latorośli Jezuityzmu siada stado krzykliwych gęsi i wron pospolitych. Do licha! Jeżeli już ogłosiliście w redakcyach waszych wyrok banicyi na aniołów, postarajcież się o wirtuozów grzechu, — jeżeli już odmawiacie nam przyjemności zachwycania się kwiatami cnoty chrześciańskiej, to pokażcież nam róże i chryzantemy fałszu zamiast ordynarnych łętów i zielska...

Tak! Kamienie oszczerstw „Kuryerowych" nie są w stanie uśmiercić nikogo w opinii, bo padają z ręki nieudolnej, ale rzecz inna, gdy zjawisko to rozpatrujemy ze stanowiska etyki i psychologii. Złodziej rozbijający siekierą zamknięte wrota a rzezimieszek otwierający żelazną szafę misternym wytrychem, to w oczach komisarza policyi przedstawiciele dwóch różnowartościowych kategoryi. Jeden ma rutynę i talent, drugi ich nie posiada, jeden zatem dla bezpieczeństwa publicznego jest groźniejszym niż drugi, — ale etyk psycholog rozpatrujący występek pod kątem instynktów ludzkich i zamiarów takiej różnicy nie uznaje. I dla tego „Kuryer Poznański" może być pośmiewiskiem wrogów swoich, może służyć za przedmiot ironii, gdy mrówkę chce ziemią zasypać a mrówka nie ginie lecz drogę sobie toruje i na światło boże wygląda, lecz pozostanie typem dziennikarskiego rozkładu, typem człowieka — ruiny. Upatrzonym ofiarom nie wydzwoni on śmierci. ale obniża powagę prasy i demoralizuje publiczność, która codziennie nieomal spogląda zdziwionemi oczyma, jak „królowie opinii", „apostołowie" i „mistrze narodu" frymarczą prawdą i honorem, — a w końcu dziwić się przestaje. Czyż my publicyści mamy prawo żądać szacunku i posłuszeństwa, gdy lada indywiduum z pod ciemnej gwiazdy rzucić nam może cyniczne słowo: Rycerze obłudy! Czyż mamy prawo leczyć choroby społeczne, gdy nasz własny organizm dotknięty zarazą, bakterye sieje wokoło. Lekarz myje ręce nim rany pacyenta się dotknie, a my z lepkiemi od brudu palcami pragniemy odgrywać rolę chirurgów! I jak się tu dziwić, że nieufność do prasy rośnie z dnia na dzień, gdy ona właśnie staje się rozsadnikiem fałszu i oszczerstwa! A niechaj nikt nie sądzi, że ugólniam tu wyjątkowe fakty i podnoszę do znaczenia epidemii to, co zaledwie sporadycznym objawem dziennikarstwa nazywać się może. Nie twierdzę bynajmniej, aby cała prasa poznańska spadła do poziomu „Kuryera Poznańskiego" — nie! takiej klęski los nam nie zgotował — ale to mnie przeraża, że liczba symptomów patologicznych rośnie z dnia na dzień, i to mnie boli, że grono uczciwszych dziennikarzy nie zdobędzie się na protest energiczny, że ciszą przyjmuje każdą kalumnię pod cudzym nie własnym — wysłaną adresem. Dla przeciętnego tłumu najmilszą jest dyskusya, w której drgają struny ludzkiej drapieżności, i paradyzowy oklask ten zyskuje, kto mistrzem jest w płotce złośliwej i jadowitej obmowie; te same instynkty grają w prasie naszej, bo najmilszem tam widowiskiem, gdy na kolegę-dziennikarza ktoś szaflik błota wyleje. Wtedy to rozpoczyna się w redakcyach zacieranie rąk i cytowanie napaści z akompaniamentem śpilkowych dowcipów, a od biurka do biurka leci krzyk radosny, że „kolegę zjeździli". O tem, że obowiązkiem prasy byłoby powołać do porządku rzezimieszków pióra, o tem. że milczenie prasy rozzuchwala napastników, nie wspomina dekalog dziennikarskiego koleżeństwa. Gdy przed kilku miesiącami w oficynie Kuryerowej ukuto oszczerstwo, że „Goniec Wielkopolski" pobiera „niemieckie srebrniki" za artykuły swoje, my jedni napiętnowaliśmy źródło kalumnii, — a „Dziennik Poznański", nestor dziennikarstwa, naczynie wszelkich cnót chrześciańskich, miał tylko milczenie oficyalne i uśmiechy satyra — na stronie. Prawda! Tam „Stary testament" króluje — bij mu pokłony narodzie!"

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Więzienna praca księdza Stojałowskiego. Rok cały odsiadując ciężkie więzienie cieszyńskie za sprawę ludu, zużytkował ks. Stojałowski te przymusowe ferye na napisanie obszernej pracy „O kwestyi socyalnej", którą w najbliższym czasie poda do druku, a z której dochód przeznaczył na ochronkę polską w Cieszynie. Rzecz cała będzie się składała z trzech rozpraw, mianowicie: 1) Duchowieństwo i lud. 2) Kwestya socyalna ze stanowiska chrześciańskiego. 3) Upadek Galicyi pod względem etycznym i politycznym. Jak z przysłanego nam prospektu widać, dzieło będzie zawierać mnóstwo ciekawych kwestyi. Przedpłata wynosi na wszystkie te trzy książki 5,10 marek. W prospekcie tym pisze ks. Stojałowski:

„Kwestya socyalna jest kwestyą „chleba i życia" — kwestyą „bytu odpowiadającego wzniosłemu przeznaczeniu, godności i nieodbitym potrzebom człowieka" kwestyą wreszcie „ścisłej sprawiedliwości" — a zatem nie usuną jej żadne półśrodki i zewnętrzne plastry, ona sama w sobie musi być załatwioną gruntownie i rychło.

Na zachodzie rządy, uczeni, mężowie polityczni, duchowieństwo — i każdy myślący człowiek zajmuje się kwestyą socyalną, bada ją i studyuje — u nas, a zwłaszcza w Galicyi, nie ma ani jednego gruntownego dzieła, nawet ani jednej wytrawniej napisanej broszury o tej najważniejszej i najżywotniejszej dziś sprawie. Nawet w dziennikarstwie kwestya ta, najbardziej piekąca, albo zgoła nie bywa poruszaną, albo na szarym końcu w pobieżnych, często stronniczych wzmiankach o ruchu socyalnym.

Stąd ten zamęt i chaos, który gnębić musi każdego, kto sprawę dokładniej badał — i trwożyć o przyszły los naszej społeczności.

Z powołania i zamiłowania zajmując się od lat wielu kwestyą socyalną, która per excelentiam jest kwestyą ludową, zabierałem się dawno przedstawić ją treściwie i popularnie, dla pożytku polskiej publiczności, wszakże zawód dziennikarski był zawsze ku temu nieprzełamaną przeszkodą, bo jak wiadomo, pisarz gazety ludowej u nas, niezawisły i o własnych siłach stojący, musi nietylko być redaktorem, ale wszystkiem, a wskutek tego na wydanie obszerniejszej pracy ani czasu, ani funduszów mieć nie może.

Obecnie, na przymusowe skazany wakacye, pragnę skorzystać z czasu i oddać przysługę, jak sądzę potrzebną i pożądaną polskiej publiczności, ogłaszając drukiem owoc długoletnich badań, doświadczeń i rozmyślań."

* * *

O Janie Kasprowiczu. Znany poeta warszawski *Adam Lange* zamieścił w Nr. 34 i 35 „Przeglądu tygodniowego" obszerną ocenę najświeższego tomu poezyi ziomka naszego, dziecka kujawskiej ziemi, *Jana Kasprowicza*. Najwyższe pochwały oddaje krytyk znakomity poematowi p. t. „Przy szumie drzew", ogłoszonemu częściowo w „Przeglądzie Poznańskim" zanim ukazał się w zbiorowem wydaniu. Lange mówi:

„Zdaje mi się, że nic piękniejszego nie napisał Kasprowicz nad poemat: „Przy szumie drzew". Jakieś tchnienie shelleyowskie, jakieś echo Epipsychidyona przenika ten utwór. Osobno mówić będę o jego formie, najtrudniejszej ze wszystkich w języku polskim, o wierszu białym, który tu płynie w zieleni lasów, w zapachu kwiecia, w symfonii drzew, śpiewających jakąś pieśń prastarą, w milczeniu dwojga dusz płynących ku sobie, w promieniach spojrzeń, roztopionych w sobie nawzajem, w uderzeniach serc, tęskniących za harmonią, w pocałunkach czystych i świeżych, jak owo tchnienie lasu, który im szumi i śpiewa i kołysze ich do pieśni seraficznej... To koncert!

Tu powiedzieć można: „Ecce poeta!"

Niezmierne poczucie żywej natury jest cechą główną Jana Kasprowicza. Dusza koloru każdej trawy, dusza zapachu wszystkich kwiatów, dusza gędźby każdego drzewa (bo każde drzewo szumi inaczej) — to wszystko pokrewne mu dusze, znane mu oddawna, życzliwe i przyjazne. I zlewa się on z niemi — na sekundę, czy na wieczność — sam tego nie wie; przestaje być sobą, cały byt jest w nim — przez nią... Bo z jej oczu. z jej serdecznego tchnienia, z jej szeptów, które go w nieskończoność prowadzą — płynie to rozszerzenie jego ducha..."

* * *

Nr. 23 „Monitora" (Lwów) wyszedł i zawiera: W sprawie wyborów. — Agitacya biskupia. — Konsolidacya partyi ruskich. — Akcya przedwyborcza w Drohobyczu. — Nasze życie towarzyskie. — Nielogiczność krytyki nowoczesnej w Galicyi. — Z podnóża Tatr. — Niebo i piekło (wiersz). — Zapiski.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** Mowa cesarska na festynie sedańskim w Berlinie, zawierająca pobudkę do walki z socyalizmem, powitana została entuzyastycznie przez prasę zachowawczą. W ślad za cesarzem rozpoczęły wszystkie pisma konserwatywnego kierunku kampanią przeciw socyalizmowi. — Naprężenie między chrześcianami a Turkami w Armenii rośnie z dnia na dzień. Walka mordercza zdaje się być nieuchronną. — Nihilizm w Rosyi daje znać, że żyje. Sądzono powszechnie, że udało się do szczętu zdusić stronnictwo rewolucyjne, w ostatnim jednak czasie policya wpadła w Odesie na ślad rozgałęzionego spisku, świadczącego o żywotności partyi nihilistycznej. — Z Wiednia donoszą do gazet niemieckich, że utworzono tam już nowe stałe ministerstwo i to bez zbyt wielkich trudności. Nowi ministrowie obejmą swe urzędy z dniem 1 października. Prezesem ministrów i ministrem spraw wewnętrznych został hr. Badeni, ministrem oświaty dr. Gautsch, ministrem skarbu dr. Biliński, sprawiedliwości hr Gleispach, handlu Exner, rolnictwa Zedtwitz, obrony krajowej hr. Welsersheimb. Oprócz tego zostało jeszcze utworzone osobne ministerstwo robót publicznych i urząd ten powierzono p. Marchwickiemu, byłemu marszałkowi lwowskiej wystawy krajowej.

* **Teatr i muzyka.** Teatr lwowski, kierowany umiejętnie przez znanego komedyopisarza Z. Przybylskiego, zapowiada na sezon zimowy „Hanusię" Hauptmanna, „Sismondę" p. Sardou, nową sztukę dyrektora samego p. t. „Historya jakich wiele" i t. d — Warszawianin Henryk Melcer otrzymał w Berlinie na konkursie Rubinsteina pierwszą nagrodę w sumie 5000 mrk. za kompozycyę p. t. „Fragment koncertowy". — Stanisław Graybner wykończył nową sztukę p. t. „Marya Estera". — Teatr poznański rozpoczyna swój sezon „Mazepą" Słowackiego. Rolę Amelii odegra p. Paszkowska. — Stary przyjaciel sceny poznańskiej, utalentowany artysta Królikowski, zaniemógł ciężko na zdrowiu i wskutek tego do składu trupy naszej zaliczony nie został. — Warszawski teatrzyk „Nowości" wprowadził na scenę nowy utwór p. t. „Kaśka Karyatyda". Jest to przeróbka z powieści tego samego tytułu Gabryeli Zapolskiej.

Odpowiedzi Redakcyi.

S. S. „Jehowy" zamieścić nie możemy. Prosimy o inne próbki.

Józefowi. Dziękujemy za informacye o intrygach „senatora" i dzielnej odprawie. udzielonej mu przez młodego lekarza. My się nie dziwimy ani reakcyjnym dążnościom ani fałszywym blaskom prowincyonalnej powagi, bo wiadomo, że kolor czerwony drażni indyki, napuszone pawie i jeszcze inne rogate stworzenia, — wiadomo także, że Heinowskie słowa „Noch immer schmuckt man den Schweinen bei uns mit Lorbeerblättern den Russel" posiadają dziś może więcej jak ongi dźwięk prawdy bolesnej.

St. A. w Wągrowcu. Postaramy się, aby sprawę opóźnionej odpowiedzi poruszono na walnem zebraniu. Co do warunku, stawionego przez dyrekcyę „Pomocy Naukowej", to zdaje nam się, że słuszności odmówić mu nie można. Snycerstwo wymaga nietylko nauki, ale talentu, — ztąd żądanie, aby Szan. Pan dostarczył świadectwo majstra, wykazujące odpowiednie zdolności, uważamy za usprawiedliwione.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

J. G. z Warszawy 5,40 mrk.

Ogółem dotychczas zebraliśmy 751,40 mrk.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 37. Poznań, Niedziela 15. września 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 5 Mr., w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Czas odnowić przedpłatę!

OD REDAKCYI.

Zakładając pismo nasze pragnęliśmy ceną znacznie niższą od podobnych wydawnictw warszawskich uprzystępnić je jak najszerszym warstwom społeczeństwa, a lubo tajnem nam nie było, że unormowanie prenumeraty na trzy marki kwartalnie wymagać będzie zrazu znacznych ofiar materyalnych, to przyświecała nam otucha, że koło czytelników w krótkim czasie tak się rozszerzy, że liczba przedpłacicieli pozwoli nam i nadal zachować pierwotne warunki prenumeraty. Nadzieja ta jednak okazała się zwodniczą. Z kwartału na kwartał wzmaga się wprawdzie liczba abonentów „Przeglądu“, z kwartału na kwartał rosną kolumny zwolenników naszego kierunku i naszego pisma, ale w trudnych warunkach egzystencyi, wobec nielicznej a uprzedzonej i duchem reakcyi od lat dwudziestu karmionej inteligencyi, wobec nienawiści, którą zgrzybiali krókowie opinii witają każde drgnienie myśli postępowej i każdy samodzielny objaw życia bez ich sankcyi i protekcyi zrodzony, — wobec przestraszającego obniżenia poziomu umysłowego w społeczeństwie naszem, rozwój ten odbywał się powoli, żądając od założycieli „Przeglądu“ ofiar bezustannych. Zdobywamy jednę piędź ziemi po drugiej, ale walka to mozolna i długa. Musimy wychować sobie czytelników, bo ostatnie lat dwadzieścia wyjałowiły i spaczyły inteligencyę zaboru pruskiego.

Stałość rozwoju naszego jest wprawdzie pomyślnym horoskopem przyszłości, ale powolność jego nasuwa obawy, że w połowie zwycięstwa siły nas opuścić mogą i dla tego postanowiliśmy z konieczności zmienić warunki prenumeraty, podwyższyć cenę abonamentu.

Od 1 października zatem przedpłata kwartalna wynosi:

Na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi

5,00 mr.

W mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej wraz z odnoszeniem do domu

4,00 mr.

We wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową

5,50 mr.

„Przegląd Pozn.“ zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 86 a.

* * *

Podwyższając cenę „Przeglądu“ zwracamy się do czytelników naszych z usilną prośbą, aby i nadal nie odmówili poparcia swojego temu wydawnictwu, które według jednomyślnego uznania najwybitniejszych przedstawicieli literatury i nauki i według sądu najpoważniejszych organów polskich i cudzych jest źródłem życia nowego w dusznej atmosferze pruskiego zaboru. My z naszej strony stać będziemy niezłomnie na straży zdrowego postępu, a wszystko co szlachetne, wszystko co służy humanitarnym dążeniom ludzkości, wszystko co krzepi i wzmacnia demokratyczny rozwój narodu, wszystko co piękne, jasne i uczciwe znajdzie w nas zawsze nieustraszonych i nieugiętych szermierzy. W zamian prosimy Czytelników i przyjaciół naszych o przyjaźń czynną i ruchliwą. — nie o tę, która platonicznie kocha, lecz tę, która działa, która krzewi idee „Przeglądu“ w społeczeństwie, która walczy i wzmacnia fundamenty nasze. Niech każdy czytelnik stara się zdobyć dla nas chociaż jednego abonenta, niech żąda od nas egzemplarzy okazowych i rozrzuca je w gronie znajomych, niech prostuje tendencyjne fałsze rozsiewane przez wrogów naszych, a wkrótce — „imię nasze będzie legion“.

Prasa a publiczność.

II.

Powiedziało przed niedawnym czasem jedno z czasopism berlińskich, że nasze wielkie dzienniki polityczne nie wznoszą się nad poziom miernych prowincyonalnych pisemek niemieckich. Krytyka ta wywołała oczywiście burzę niezadowolenia w bożyszczach przywłaszczających sobie „przywilej nietykalności“ i reklamujących od czasu do czasu z dumą tytuł „organów europejskich“; jeżeli atoli weźmiemy rozbrat z zasadą, że kardynalnym postulatem patryotyzmu jest maskowanie ujemnych stron życia narodowego, — jeżeli poddamy objektywnej analizie preparaty duchowe wyrabiane w naszych warsztatach dziennikarskich, to owa niemiecka krytyka nie stanie przed nami jako wklęsłe lub wypukłe lustro, lecz jako proste zwierciadło odbijające wiernie obraz dziennikarstwa. I wtedy jednak zjawi się może słowo rozgrzeszenia, bo wielu analityków życia naszego ma w pogotowiu rozpaczliwy okrzyk, że wina nie tyle leży w kierownikach prasy, ile w kruchych materyalnych podstawach dzienników polskich, — w tej chronicznej chorobie, która toczy całe nasze życie publiczne. Twierdzeniu temu nie można odmówić pewnej słuszności, ale należy je sprowadzić do właściwej miary i postawić pytanie, czy w ramach stosunków naszych istotnie nic lepszego stworzyć niepodobna, oraz czy podniesienie dziennikarstwa nie spotęgowałoby równocześnie źródła jego dochodów. Przy takiem ujęciu sprawy nasuwa się natychmiast kwestya gwałtownego rozszerzania czasopism niemieckich wśród publiczności polskiej i wynikający ztąd fakt niezbity, że w społeczeństwie poznańskiem istnieje nietylko zapotrzebowanie pożywniejszej i obfitszej strawy dziennikarskiej, lecz i kapitał odpowiadający potrzebom jego. Dziś nieomal w każdym domu obywatelskim znajdują się dzienniki berlińskie, nieomal każdy zamożniejszy kupiec i przemysłowiec abonuje czasopisma niemieckie, a skargom na popieranie „cudzego towaru“ odpowiada charakterystyczne twierdzenie: „W prasie polskiej pustki. To, co podaje czytelnikom swoim, nosi piętno żółwiego ruchu, a tysiącznych rzeczy niezbędnych dzisiaj dla każdego inteligentnego człowieka, wiadomości koniecznych dla rólników i kupców, szukasz napróżno w polskiem dziennikarstwie“.

Kłam zadać trudno zarzutowi temu, bo już powierzchowne porównanie takiej np. „Posener Zeitung“ lub grudziądzkiego „Geselligera“ z „Dziennikiem Poznańskim“ wykazuje zwycięztwo Niemców nad anemicznym, polskim organem. Tam sprężystość, ruch i obfitość, tam poczucie aktualności, tam bezustanne znaki życia z wszystkich zakątków prowincyi, tam błyskawiczna kontrola pulsu europejskiego, — a tu niestety obszar jałowy, gdzie pustkę maskują dosłowne przekłady lub kompilacye z poglądowych artykułów prasy berlińskiej. Zupełny brak reporteryi polskiej skazuje dziennikarstwo nasze na wyłączną nieomal pomoc niemieckich referatów i korespondencyi, a zapożyczanie przybiera takie rozmiary, że częstokroć „Posener Zeitung“ zamieszcza rychlejsze i dokładniejsze informacye o drgnieniach życia polskiego, niż nasze własne

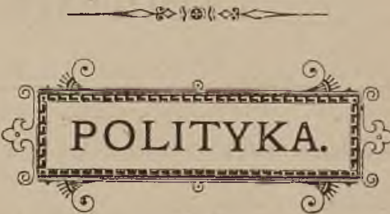
„europejskie“ organy. Pustka w sprawach handlu i przemysłu, pustka w sprawach literatury, łańcuch u nogi w sprawach polityki. Ztąd to rodzi się w społeczeństwie jako naturalna konsekwencya pewne lekceważenie prasy narodowej, ztąd skarga poety: „Cudze chwalicie, swego nie znacie“ w naszych warunkach kłamstwem jest i długo jeszcze zapewne niem pozostanie.

Bogactwo i barwność materyału dziennikarskiego wymaga bez wątpienia kapitału nakładowego, ale znając dokładnie stosunki prasy poznańskiej, upatrujemy kapitał ten poniekąd w umiejętniejszem kierownictwie i obrocie funduszy i dochodów istniejących. Dziennikarz ruchliwy, odczuwający potrzeby społeczeństwa i posiadający instynkt chwili, — dziennikarz posiadający ową świadomość obowiązków, która nie pozwala sił rozpraszać na tysiączne uboczne ambicyjki, roboty i robótki, lecz rozkazujeześrodkować główne dążenia około rozwoju pisma swojego, dźwignie niewątpliwie nasze wielkie organy na wyższy szczebel doskonałości bez pomocy nowych kapitałów. W miarę zaś szczęśliwej konkurencyi z niemieckiemi pismami i rozwoju oświaty w społeczeństwie polskiem, wzmagać się musi różnostronny przypływ zarobkowy, a tem samem finansowy materyał dalszego doskonalenia. Dziś brak fachowego kierownictwa jest kardynalną przyczyną starczej bezkrwistości naszego „wielkiego“ dziennikarstwa, kompromitującego się nietylko ubóstwem i jednostajnością pokarmu rzucanego czytelnikom swoim, lecz pensyonarską niedojrzałością w sprawach społecznych i zatratą zmysłu artystycznego w sprawach literackich. Małe feljetony i recenzye teatralne „Kuryera Poznańskiego“ z najświeższych czasów oraz osławione „Aniołku czekamy“ i poezye pomieszczane w łamach poważnego „Dziennika“ są istotnie prawdziwem urągowiskiem w dziejach publicystyki polskiej. Dziwić się nie można drobnym dzienniczkom poznańskim o zakroju ludowym, jeżeli łamy swoje stroją próbkami literackiemi częstochowskich rymorobów i romansopisów, bo tu charakter organu i. poziom umysłowy czytelników jest poniekąd rozgrzeszeniem artystycznego Beotyzmu, ale gdy wielkie dzienniki, służące inteligencyi, zamieszczają cudactwa literackie, wtedy rozbudzona i dojrzała publiczność za rzuconą tandetę płaci lekceważeniem, a niedojrzała i śpiąca drzemie dalej w obskurantyźmie umysłowem, pielęgnowanem tak usilnie przez naszych redaktorów-estetyków i uczonych.

Brak siły intelektualnej jednak i krytycyzmu nie jest wyłączną przyczyną obniżenia poziomu dziennikarstwa poznańskiego, bo obok dyletantyzmu, który sądzić nie umie, grasuje u nas stronniczość lub rachuba, która sądzić nie chce. Ludzi i prace dzieli każdy dziennik na trzy kategorye: zdecydowanych stronników, bezbarwnych i przeciwników. Pierwsza — bez względu na to, czy wystąpi w charakterze prelegenta, mówcy wiecowego, aktora, muzyka, malarza, poety itp. — otrzymuje stałe patent geniuszu, mistrza lub przynajmniej głębokiego i wiele zapowiadającego talentu, — drugą częstuje się groszowemi całuskami, aby „ludzi nie zrazić“, trzecią maltretuje się zjadliwie lub stara zabić milczeniem. Tak fabrykuje się z najpłytszych i najbanalniejszych indywiduów olbrzymów pióra, słowa lub pędzla, tak często ludzi niepospolitych lub przynajmniej wybitniejszych zdolności spycha się w proch i dławi brutalnie.

Rozpatrzmy się w ocenach popisów krasomówczych zeszłorocznego wiecu katolickiego — zdawało się istotnie, że nasza prasa „poważna“ zamieniła się w rozległą cukrownią. Każdy nonsens wołający o pomstę do nieba, każdy frazes wykradziony z obcych i swojskich autorów, każdy zwitek najelementarniejszych, utartych ogólników otrzymywał patent mistrzostwa, i powstał nagle hufiec geniuszów na poznańskiej ziemi. A przecież cała ta manifestacya lojalno-klerykalna nosiła piętno rozpaczliwego dyletantyzmu i wobec podobnych demonstracyi niemieckich lub — last not least — galicyjskich raziła swoją czczością bezdenną. Podobnie dzieje się we wszystkich dziedzinach bytu społecznego i umysłowego, — nikt się nie pyta o dzieło, o czyn, lecz każdy szuka autora. Pokrewne stosunki istnieją wprawdzie i w innych centrach życia narodowego, skarżą się na nie śmielsi pisarze Warszawy, Lwowa i Krakowa, — ale nigdzie nie wybujała stronniczość z taką potęgą iście podzwrotnikowej wegetacyi jak u nas. Gdy przed niedawnym czasem jeden z najradykalniejszych poetów galicyjskich ogłosił nowy tomik poezyi swoich, oplotła mu głowę wieńcem wawrzynowym urzędowa, klerykalno-konserwatywna „Gazeta Lwowska“, gdy Adam Nowicki rzucił swoje światoburcze pieśni na półki księgarskie, sypał mu róże pod nogi „Czas“ ultrazachowawczy, — u nas do takiej tolerancyi artystycznej prasa nie wzniesie się nigdy. Zupełna bezduszność i umysłowa bezsiła krytyki z jednej strony, a tendencyjne maltretowanie lub niańczenie z drugiej strony, oto sygnatura dziennikarstwa naszego. Dzień każdy mnoży przykłady, a w świeżej jeszcze pamięci przechowujemy fakt, że „Dziennik Poznański“ nie mogąc zdusić rozumnej myśli ekonomicznej, rzuconej przez jednego z Kuryerowych szermierzy, odmówił znienawidzonemu autorowi p r a w a b u d o w a n i a r o z s ą d n y c h p r o j e k t ó w.

Tak w szkicu pobieżnym rysuje się przed okiem myślącej publiczności sylwetka „siódmej potęgi świata“ na poznańskim gruncie, a że koło tej skrzywionej moralnie i umysłowo postaci słychać coraz częstsze śmiechy szydercze, że wpływ prasowych przywódzców narodu maleje, że potęguje się lekceważenie dla tych wątpliwych „drogoskazów, nauczycieli i mistrzów“ społeczeństwa, któż temu dziwić się odważy? Nowych ludzi i nowych sił nam trzeba, bo królestwo dziennikarskich Grabców i Falstaffów grozi wyjałowieniem i zatruciem życia narodowego, a w rzeszy uczciwych i trzeźwych słychać z dnia na dzień głośniejsze szemranie.



Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

Jeden z korespondentów „G a z e t y G r u d z i ą d z k i e j“ z Wlewska pod Lidzbarkiem podaje projekt następujący (nr. 106):

„Nie wolno nam zapominać o tych współbraciach, którzy albo są obojętni i niechętni do czytania, albo tak biedni, że nie mają na to, aby zapisać sobie czasopismo polskie.

Pierwszych należy w sposób życzliwy do zaabonowania gazety namówić, a biednej braci wprost do tego dopomódz. Wszak wobec wzmagającego się coraz bardziej ucisku ze strony naszych nieprzyjaciół i utraty ziemi polskiej, robotnik polski jest niestety często zmuszony szukać zarobku tam, gdzie wystawiony jest nierzadko na pośmiech, drwiny i szyderstwo z tej tylko przyczyny, iż jest katolikiem i Polakiem. Trzeba więc usilnie starać się o to, aby mimo to został tem, czem go Bóg stworzył, aby nie utracił wiary i narodowości.

Dla tego uważam za rzecz arcyważną i konieczną, aby na dobre o tem pomyśleć, jakby tym biednym robotnikom, wyrobnikom wiejskim oraz po miastach umożliwić czytanie pism naszych katolicko-polskich sposobem bezpłatnym.

Możeby należało z początku drogą składek zebrać potrzebny na to fundusz. Choć wiele u nas jest potrzeb i społeczeństwo nasze biedne, nie wątpię, iż dość obfite na cel ten wpłynęłyby datki. To też niniejszy projekt poddaję pod sąd publiczności polskiej“.

Redakcya „G a z e t y G r u d z i ą d z k i e j“ przyklaskuje myśli powyższej i otwiera łamy swoje dla dyskusyi nad praktycznem przeprowadzeniem projektu.

—

W okręgu pszczyńsko-rybnickim na Górnym Szląsku postawił niemiecki komitet wyborczy kandydaturę p. Latacza na posła do sejmu.

Marya Komornicka.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

LEON *(otrząsa się ze wzruszenia, szydersko)*. Dla swych dramatycznych póz masz widza. Zapomniałaś pani, że tu jestem, może!

WANDA *(wzdryga się, zmieszana)*. Pan tutaj?... Pan zły... pan?...

LEON *(j. w.)*

Może nie wiedziałaś pani o tem?... tak się zatopiłaś w grze, że przestałaś wiedzieć, co się wokoło dzieje?

WANDA *(zupełnie swobodnie, zimno)*.

Tak, niekiedy mi się to zdarza, choć może się to wam nie trafia, wam, ludziom trzeźwym i pożytecznym.

LEON *(j. w.)*

Lecz wybacza się wam, istotom wybranym, duchom wyższym, artystom!

WANDA *(z pobłażliwym uśmiechem)*. Czyż jest co wybaczać? Czyż to wina?

LEON.

Prawda... ja niekiedy bredzę... *(wybucha szyderczem wzburzeniem)* Prawda! to nie wina znieczulić się na świat zewnętrzny, konkretny! To nie wina wsłuchana w dźwięki, chodzić obojętnie wśród nędzy ludzkiej i bólu! To nie grzech stworzyć sobie raj w chmurach, a ludziom zostawić gorycz piekielną ziemi! Nie grzech oblizywać sobie palce wśród rozkoszy tworzenia i artyzmu, gdy inni pożerają swe ręce, bo nie mają co jeść!

WANDA *(z ironią)*.

Zkąd taki patos?

LEON *(nami tnie)*.

Zkąd? przed chwilą czytałem w gazetach o nowych gwałtach, dokonanych na robotnikach i ich wściekłych, a bezsilnych szarpaniach się w żelaznych pętach ucisku... O niewoli, łamiącej najpiękniejszy kwiat naszego społeczeństwa, o rozpanoszeniu się zwierzęcej tyranii! I szedłem tutaj, by rzucić pani ten krwawy szmat życia; lecz muzyka twoja zatrzymała mnie, zostałem w jej pętach, nikczemny! Dałem się pochłonąć jej bezcelowej potędze. Bo to zbytek na nią marnować siły i zdolności! Bo zbytkiem jest to, co bawi umysł i zmysły, gdy ludzie wiją się w bólu niezaspokojonych, pierwszych potrzeb! Zbytkiem grać „fantazye między gwiazdami“ — tym, którzy codziennie słyszą swoje, i dzieci swych, i drugich jęki; ach, oni mają co słuchać! Rozkiełznanych rapsodyi i tkliwych nokturnów im nie potrzeba! Ani malowanych drzew i twarzy! Ani posągów klasycznego piękna! Ani systemów filozoficznych, ani poezyi! Wy się bawicie w myśl oderwaną i sztukę, w analizę i muzykę; wy dajecie rozkosze swym oczom i uszom, wy uprawiacie gimnastykę dyalektyczną, a im potrzeba chleba! A energia czynu niszczy się w lochach więzień podziemnych lub na lodowych stepach Syberyi. A masa narodów ma tak ciemne mózgi, że im pierwszych wiadomości brak! A oni nie widzieli nigdy, zamknięci w suterenach i murach fabrycznych, co to widnokrąg swobodny, co to roślinność bujnie żyjąca w czystem polu! Wyście bogacze, zjadający pasztety wobec spętanych, głodnych nędzarzy! Wy szaleńcom niewoli i głodu podajecie salonowe cukry! Wy się bawicie, gdy pracować trzeba! Wy pracujecie dla zabawy i sama praca jest wam zabawą i rozkoszą. Wy nie znacie wysiłku w trudzie walki o cel, męczeństwa w imię celu! Wy samolubnie żyjecie wśród waszych rozkoszy, a że tam ten pogardzony „tłum“, na który patrzycie z wysokości waszej — „wyższości!“ — wije się z bólu, co was to obchodzi? Byleby wam było dobrze, bylebyście wy tworzyć mogli! Wyście przecie nie ludźmi! Tylko jakimiś półbogami, nie mającymi nic wspólnego „z gawiedzią“,

Przeciw kandydaturze tej występują „Nowiny Raciborskie“ (nr. 108) w słowach następujących:

„Dwojako można germanizować: gwałtem i łagodnością. Ale żadna germanizacya nie jest sprawiedliwą ani chrześciańską, bo usiłuje zniszczyć porządek przez Boga postanowiony, chce Polaków na Niemców przerobić. Czy kto gwałtem, otwarcie, jawnie germanizuje, czy łagodnością, po cichu, niepostrzeżenie, — równie źle czyni. Zasadą świętą jest: „prawo boskie zawsze i wszędzie szanować a nigdy go i w żaden sposób nie łamać“. Wielu jest takich, którzy gwałtem lud polski chcą zgermanizować, a niemało też takich, którzy także do tego samego celu dążą, którzy chcą również lud polski zniemczyć, lecz odrzucają gwałtowne środki a zalecają łagodne, Do takich należał dawniejszy poseł, ks. dr. Franz, który choć był posłem ludu polskiego, w Berlinie powiedział: „My jesteśmy także za germanizacyą, ale łagodną, nie gwałtowną“. Takich mężów, którzy podobnie, jak ks. Franz myślą, nie brak między zwolennikami centrowymi i takim też jest p. rektor Latacz z Katowic.

W gazecie nauczycielskiej (Kathol. Schulztg.) ogłosił on w marcu 1894 roku swoje zdanie o germanizacyi. Potępia tam wprawdzie gwałtowną germanizacyę, żąda, aby nauczyciele umieli po polsku i dzieci za pomocą języka polskiego uczyli, zaleca łagodność w nauce i postępowaniu, — lecz czyni to wszystko jedynie z tej przyczyny, ponieważ uznaje, że gwałtem do celu się nie dojdzie. Pisze natomiast: „Germanizacya tylko wtedy się uda. skoro germanizator potrafi niemiecką mowę i niemieckość wogóle uczynić miłą ludowi; skoro potrafi ludzi nakłonić, ażeby w domu po niemiecku mówili, po niemiecku się modlili. Trzeba się starać o to, ażeby serce ludu do niemczyzny rozgrzać, ażeby ludzie niemczyznę pokochali. Wtedy germanizacya się uda‘,.

Pan Latacz przeto jest za tem, aby łagodnością lud germanizować i daje rządowi dobre rady, jak powinien postępować, jeżeli chce lud polski zniemczyć. A tymczasem wobec prawa boskiego nie ostoi się żadna germanizacya, ani gwałtowna, ani łagodna, — lecz owszem, prawo boskie germanizacyą w każdej postaci potępia! Lud polski, trzymając się tego prawa, musi wszystkiemi siłami bronić się przed każdą germanizacyą. Kto zaś jest za germanizacyą (gwałtowną czy łagodną), nie może być posłem ludu polskiego pod żadnym warunkiem“.

Kandydatura ta istotnie upadła na zebraniu w Żorach, gdzie lud polski wystąpił energicznie przeciw księżom germanizatorom i olbrzymią większością głosów mianował kandydatem swoim p. Radwańskiego, adwokata z Pszczyny, Polaka-patryotę, dzielnego mówcę i zasłużonego obywatela. Jest to poważny krok narodowego rozwoju na Górnym Szląsku, a krok ten mówi wyraźnie, że skończyły się na zawsze czasy hegemonii niemieckiej i politycznego niemowlęctwa ludu.

—

Z powodu jubileuszów festynów sedańskich takie wypowiada opinie toruński „Przyjaciel“:

„Pokazuje się teraz po obchodzie sedańskim, że udział Polaków był w nim większy, niż się godziło i z początku zdawało. W niektórych miejscach przyłączyły się do obchodu tego nawet całe towarzystwa polskie. Po innych miastach w cechach i innych stowarzyszeniach, choć Polaków w nich najwięcej, nie umiano się też powstrzymać od tego. Trudno! ludzie są słabi a głupich też nie brak. Słabi myślą, że wielki dla nich z tego honor, gdy idą razem w tłumie i mają coś na sobie lub przed sobą, co w oczy podpada, albo też dumni z tego, że z panami urzędnikami są w jednej gromadzie. Głupi zaś myślą, że ich właśnie każdy najlepiej widzi i spamięta sobie, a potem będzie im za to życzył zarobku, czy to w handlu, czy rzemiośle, lub innem jakiem zatrudnieniu. Na prawdę zaś jest tak, że w gromadzie nikt ich nie widzi, a kto zobaczy, ten sobie pomyśli, że to też taki spekulant, który chce im oczy zamydlić i udaje coś, czego w sercu nie czuje i czuć nie może, a chce tylko przez to zarobić. Więc się z takiego śmieją, albo z obrzydzeniem od niego się odwracają, jako od człowieka nie zasługującego na zaufanie i szacunek“.

—

„Orędownik“ zamieścił w numerze 206 dłuższy artykuł przeciw korespondentowi naszemu z Górnego Szląska, — artykuł w formie nieprzyzwoity a w treści pełen wręcz fałszywych lub jednostronnych informacyi Nie podoba się mianowicie „Orędownikowi“, że korespondent nasz obniża zasługi „Katolika“, upatrując w jego przesadnej ostrożności i niewyraźnej barwie narodowej hamulec emancypacyi polskiego żywiołu na Szląsku; niepodoba się „organowi warstw średnich“, że scharakteryzowaliśmy dwulicowe zachowanie się „Katolika“ w sprawie wycieczki Górnoszlązaków na wystawę poznańską i przeciwstawiamy chwiejnej, lękliwej, żółwiej dyplomacyi bytomskiego pisma energiczną i odważną polityką „Gazety Opolskiej“ i „Nowin Raciborskich“. Obszerną odpowiedź na wywody swoje znajdzie „Orędownik“ w dzisiejszym artykule p. t. „Sylwetki szląskie“, którego autorem jest jeden z najdzielniejszych i najtrzeźwiejszych obrońców ludu górnoszląskiego. Tu zwracamy tylko uwagę „Orędownikowi“, że z faktów przytoczonych. jakoby „Katolik“ podał niegdyś myśl założenia „Gaz. Opol.“ i przed kilku miesiącami nabył „Nowiny Raciborskie“ na własność, nie wypływa bynajmniej, aby między gazetami temi a ich rzekomym ojcem nie było poważnych różnic politycznych. Różnice te w stosunku do „Gazety Opolskiej“ były i są bezustannie nader wyraźne, a w stosunku do „Nowin“ zbladły nieco dopiero od chwili, gdy „Katolik“ nabył ten organ i odstąpił go p. Eckertowi.

Sympatye zresztą „Orędownika“ do bytomskiego organu nie dziwią nas bynajmniej, bo opierają się one na harmonii duszy i pokrewieństwie politycznych błędów. Tu i tam pragną tylko chleb polski wyrabiać, lecz budzenia ducha polskiego nienawidzą (stanowisko „Orędownika“ wobec Kościuszkowskiej rocznicy!); tu i tam pragną zachowania języka ojczystego, lecz „pełni“ narodowego życia i narodowych dążeń nie uznają; tu i tam zamieniono program trzeźwej pracy organicznej w kult żołądka polskiego i suszarnię uczuć. Gdyby „Orędownik“ rozumiał psychologię organizmów zbiorowych, to pojąłby może, że takie dążenia jednostronne wiodą nie do życia, lecz do wegetacyi, a wegetacya prędzej czy później staje się niebytem. Tam, gdzie się kończą dwie mile widnokręgu „Orędownika“, tam nie kończy się jeszcze idea narodowa. Jest ona cytrą olbrzymią o tysiącznych strunach. Kto tylko w jednę uderza, ten słuchaczy nie porwie nigdy, nie rozpali nigdy i naród znuży, zniechęci, wyjałowi.

—

„Goniec Wielkopolski“ zamieścił w nr. 207 sprawozdanie kasowe „Opieki szkolnej“ i takie przy tej sposobności dołączył uwagi:

„Tak w sprawie materyalnej odzywa się „Opieka“. Na czem jednak zasadza się dzisiaj jej opieka moralna, duchowa?

Czy Komitet „Opieki szkolnej“ pracuje wogóle? Jak ta jego praca wygląda?

Społeczeństwo nasze ma prawo do tego, żeby instytucya niezbędnie potrzebna, z łona obywateli poznańskich powstała, przedłożyła mu obraz swego działania.

Dla tego ponownie wołamy:

Wobec reskryptu Bossego, który więcej jak dwie trzecie dzieci wielkopolskich pozbawił nauki języka polskiego, Rada „Opieki szkolnej“ potrzebuje nowego mandatu do nowych zastosowanego warunków.

Dla tego znowu dopominamy się o wiec w sprawie nauki języka polskiego dla miasta Poznania.

Komitet „Opieki szkolnej“, skoro mu się więcej dziećmi w szkole opiekować nie wolno, powinien zaopiekować się temi dziećmi poza szkołą!

Powinien zdać sprawozdanie przedewszystkiem z pedagogicznych czynności, powinien przedstawić obywatelom, co zamierza czynić nadal.

Dzieci polskie, germanizowane przez szkołę, od roku już nie doznają opieki obywatelskiej, nie mają w społeczeństwie przyjaciół

Kto je poratuje?“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Dziennik białogrodzki „Male Novine“, który jest organem zupełnie niezawisłym, pisze o polityce rosyjskiej wobec Bułgaryi:

„Przed nie tak dawnym czasem pisał „Graždanin“, że Bułgarya powinna stać się gubernią rosyjską. Do tego dodały „Moskowskie Wiedomosti“, że niema wątpliwości, iż dla Bułgarów samych byłoby najlepiej, gdyby księstwo bułgarskie zamienili w gubernią rosyjską. Tego nie uczyni Rosya, bo powinna się poczuć Bułgarya sama do tego obowiązku, ażeby tym sposobem zasłużyć na zaufanie Rosyi. (?!) Przeistoczenie Bułgaryi na gubernią rosyjską znaczyłoby, iż jej zagwarantowano swobodny rozwój ekonomiczny, bezpie-

---

nie poczuwającymi się do żadnych względem niej obowiązków!

WANDA (*wzburzona*).

Panie Leonie! Logiczniej!

LEON.

Ha, ha, logiczniej! spokojniej! Ja nie umiem się hamować i nie wyć, gdy mnie ból dusi i dławi! A mnie oburza wasze samolubstwo, wasza pycha, wasz epikureizm! Wasze używanie z sumieniem nie zmąconem, wasza pogarda dla ludzi! Ale oburza!... Śmiech bierze patrząc na was ludzi wielkich, utalentowanych! „wyższych“ umysłowo i moralnie! Czemże wy się różnicie od tej pospolitości ludzkiej, którą tak gardzicie? Czem? Gdzie wasza zasługa? Jak bursztyn wydaje iskry za potarciem, tak wy tworzycie! Wy nie dotykacie się życia i jego okrucieństwa! Was nie wzięły na tortury tryby jego kół; nie zmełło ono wam dusz, nie zapruszyło pyłem codziennej pracy i udręczenia, i to wam daje prawo nazywać się wyższymi! Wy, pieszczochy losu, pysznicie się łakociami, którymi was karmił! Nie znając ludzi, pogardzacie nimi. Cóż w was jest rzeczywiście innego? Ja w pani nic nie dostrzegam, coby cię odróżniało od innych ludzi, innych kobiet nawet! Jak oni, jesteś egoistką; tylko ten egoizm nie czepia się zwykłych przedmiotów pożądania, lecz pasie się subtelnościami twej duszy! Ah, wy wielcy! Wy jesteście, równie jak my, podli! Tylko wasza nikczemność, zamiast skakać do oczu grubymi rysami życia, przejawia się wykwintnie i widocznie dla tych tylko, którzy bez szkieł zachwytu na was patrzą! I gorsi od nas jesteście, boście uzbrojeni w siłę, której nie posiadamy: w talent. I za pomocą niego hypnotyzujecie nas i prowadzicie nad otchłań piekieł i niespokoju! Bezkarnie wam uchodzi wytrącenie nas z równowagi, zatrucie duszy, wypaczenie życia! Bo na zbrodnie psychologiczne nie ma trybunału! przeciwnie, liczą się wam one jako zasługi! Za nie słyszycie szmer uwielbienia! Za to do nóg wam padają w cielęcem aaa! A wy zbieracie nawet nie raczycie zachwytów! choć i one wam się nie należą, boście na nie nie pracowali! Jakiem prawem nas dręczycie? Jakiem prawem wydobywacie z dusz to, co spać powinno, byśmy żyć mogli, kusicie marzeniami podłymi raju, budzicie bodaj skamieniałą! głąb duszy?... Słuchaj, dla czego (*gwałtownie*) pani teraz grałaś? Dla czego?

WANDA (*posępna*).

Miałam ochotę.

LEON (*szyderczo, namiętnie*).

A! miałaś pani ochotę! Mylisz się, jeżeli ci się zdaje, żem ślepy i dam się oszukać jak Kazio, jak wszyscy, którzy u nóg twoich leżeli lub leżą! Chcesz mnie, jak ich ujarzmić! W prochu mnie widzieć, zahypnotyzowanego, upokorzonego przed twą potęgą! Boś ty nie wolna nawet od próżności kobiecej, choć tak myślisz! Bo ty nie kokietujesz, jak inne, wyciętymi sukniami i mdlącą twarzą, lecz sztuką! Bo ty grać chcesz, jak ci się podoba, na duszach ludzi, by te dusze słuchały cię ślepo i to czuły, co im czuć rozkażesz! Lecz co do mnie, nie uda ci się to, moja pani! Ja nie będę niewolnikiem w twym orszaku! Ja gardzę tą problematyczną waszą wyższością, egoizmem, rozuzdaniem wytwornem waszych ja, które nazywacie sztuką i myślą! Gardzę! (*oddycha głęboko, z zimną ironią*) A jednak co za naiwność w przypuszczeniu, że wszystko, co nam dajecie, bierzemy za dobrą monetę! (*milczenie*) (*wzburzony*) Dla czego nic pani nie mówisz?...

WANDA.

Nie czuję potrzeby usprawiedliwiania się z dziecinnych zarzutów.

LEON.

Ha! najłatwiejszy sposób wybrnięcia z kłopotu! Dziecinne?... Zobaczymy, czy się pani takimi wydadzą, gdy z życia zdasz przed sobą rachunek sumienia! Zresztą kto milczy, potwierdza.

WANDA.

Komentarze pana do mnie nie należą.

LEON.

Wspaniałe! Naturalnie, co panią, istotę wyższą, obchodzić może myśl robaka! Nawet wątpliwości rozjaśnić mu nie warto! Niech co chce myśli; wszak on należy do tłumu,

czeństwo na zewnątrz i spokój wewnętrzny. Ale raz jeszcze podnosimy, iż Bułgarzy na taką łaskę dotąd nie zasłużyli. (?!)

„Tak piszą „Moskowskie Wiedomosti“. Z naszej strony dodajemy:

„Niechaj drudzy Słowianie rozważą sobie dobrze, co tam myślą w Rosyi.. I u nas są tacy, którzy sądzą, że Bułgarya bez Rosyi istnieć nie może, i pragną innych w błędzie utrzymać, że Rosya dobrze życzy Bułgaryi. Dziwne zaślepienie! Rosya ma być punktem oparcia dla Bułgaryi a dwa poważne dzienniki mówią wyraźnie, że uważałyby to za łaskę nam wyświadczoną, gdyby Bułgarya zrzekła się niepodległości i stała gubernią rosyjską“.

* * *

W numerze poniedziałkowym „Slovenski Narod“, organ Młodosłowińców pisze pod nagłówkiem „Narodnost in kosmopolitizem“:

„Z tego co nasi klerykali w swym głównym organie „Slovencu“ piszą, widać, że narodowość nie jest u nich rzeczą tak ważną, iżby jej interesy były dla nas najżywotniejszemi“.

„Dotychczas zarzucano kosmopolityzm naszemu stronnictwu, posądzając je o idee socyalistyczne, dziś nasz organ klerykalny nazywa patryotyzm pogaństwem. Według niego jest język środkiem, którym Boga chwalimy i środkiem porozumiewania się pomiędzy sobą, ponad tem znaczenia innego nie ma. Boga chwalimy tak samo po francuzku, włosku, jak i po słowińsku.

Na to odpowiadamy. Bożą wolą było, iż się urodziliśmy Słowińcami, jego wolą jest, abyśmy Słowińcami zostali, języka nie wolno nam zamienić na język drugi, jak się zamienia przedmioty służące do użytku codziennego. Nasz język powinniśmy kochać, kiedy go Bóg dał.

„Tylko wówczas, gdy staniemy na tem stanowisku, będziemy się mogli bronić przed kosmopolityzmem, przez który wciska się do nas germanizacya. Nasi germanizatorzy nam powiadają, iż język to tylko prosty środek, i jako taki jest niemczyzna lepszą od słowińszczyzny.

„Jeżeli nasi klerykali kiedykolwiek przeciw kosmopolityzmowi występowali, to czynili to z obawy przed socyalistami, o których rzec można, że w nich tyle patryotyzmu jak u klerykałów.

„Jednakowoż nie można o socyalistach powiedzieć, iżby byli przeciwnymi kulturnym potrzebom poszczególnych narodów. Z ich pism widoczne, że chcą dla narodowości praw równych.

„Wiedeńscy „socyaliści chrześciańscy“ są Słowianom mniej przychylni, aniżeli socyalni demokraci.

* * *

„Zastava“, organ serbskiej partyi narodowo-radykalnej, wychodzący w Nowym Sadzie, pisze o zgodzie chorwacko-serbskiej:

„Dziwni to są ludzie, owi dziennikarze chorwaccy, a z nimi porówno ci wszyscy, którzy się piórem bawią. Nie widzą oni dalej poza koniec swego nosa, o rzeczach najprostszych nie można dyskutować, gdy wchodzą w grę interesy „wielkiego chorwackiego państwa“.

„Chorwaci roszczą dziś pretensye do wszystkich ziem serbskich.

„Cały świat wie, że w Bośni mieszkają Serbowie i że mówią po serbsku — tylko uczone głowy chorwackie tego nie wiedzą. Niedawno temu miał odczyt profesor uniwersytetu zagrzebskiego Klaic, twierdząc, że wszyscy Bośniacy są Chorwatami, ponieważ mówią po chorwacku!

„Moglibyśmy cały szereg faktów przytoczyć na potwierdzenie tego, iż Chorwaci z każdym dniem nieledwie występują z pretensyami do krajów serbskich, w których nikt o Chorwatach nie słyszał. Ani nauka, ani prawda Chorwatom naszym nie imponują!

„Najśmieszniejszem jest atoli nazywanie Chorwatami wszystkich serbskich uczonych i poetów.

„Naszem zdaniem ugoda, którą „Obzor“ zaprojektował, jest możliwą, jeżeli uwzględniać będą tak Chorwaci jak i Serbowie to, co rzekł uczony nasz Daniszewicz: „Trzeba, aby Chorwaci nazywali się Chorwatami, a Serbowie Serbami dopókąd wspólnego imienia się dla nich nie wymyśli“.

„To jedno atoli powinni Chorwaci przyznać, że wyraz „Serbia“ jest starszym, że historycznie należy się Serbom pierwszeństwo...“

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Z przyczyn niezależnych od redakcyi dokończenie artykułu: O „Rodzinie Połanieckich“ zamieścimy dopiero w następnym numerze.

„Proboszcz“.

(„Der Proboszcz“. Eine Nowelle aus dem Osten des deutschen Reiches von Erich Fliess.)

Słuszny czynimy często zarzut Niemcom w prowincyach zwłaszcza zachodnich i południowych, że lepiej poinformowani są o stosunkach Negrów i Chińczyków, niż o stosunkach współobywateli swych Polaków. Kto przebywał czas dłuższy pomiędzy Niemcami zachodniej i południowej części wielkiego państwa, ten nasłuchać się musiał do syta najpotworniejszych bajek o współdzikich pol kich Azyatach, którymi niańki niegrzeczne straszą dzieci, a starsi mianem ich posługują się jako klątwą pogardliwą. Znają oni Polaków li tylko z pewnego rodzaju nieprzyjaznych nam bibuł gazeciarskich i powieści takich, jak n. p. Franzos, Sacher-Masoch, Freytag i t. p. fałszerzy prawdy, u których Polak to ów dumny, napół obdarty hidalgo hiszpański, z pod którego łachmanów przebijają strzępy karmazynowe — zawsze pełen buty, fantazyi, zachcianek pańskich, wiedziony najniższym instynktem, porywczości, obłudy i t. p. przymiotów.

Nie jesteśmy co prawda aniołem pomiędzy narodami, przeciwnie, jako składnik ludzkich jednostek, grzeszymy też po ludzku. Lecz jak wobec mnożących się zbrodni i obłędów, twierdzić nie można, że wszyscy ludzie zbrodniarzami lub obłąkańcami, tak też nie wolno ogólnych zboczeń moralno-ludzkich, ujawniających się u pewnej liczby ludzi, przypisywać całemu narodowi. W publicystyce niemieckiej jednakże, zwłaszcza w rodzaju wyżej nadmienionych pisarzy, chęć uogólniania i malowania „na szaro“ stosunków polskich, posunięta nieraz do tendencyjnych fałszów i oszczerstw, jest nadto widoczną, by jej nie dostrzedz. Nie pragniemy idealizowania Polaków jako takich, jak to czyni nieraz sympatyczna nam Natalia Eschstrut, — tylko prawdy, na tle której to Erich Fliess w nowelach swych stosunki wielkopolskie maluje — a przynajmniej malować się stara. Żyjąc czas dłuższy w Księstwie „za lepszych jeszcze czasów“, poznał Polaków, z którymi, jak sam powiada, niejeden wypił gąsiorek węgrzyna, i przyszedł do przekonania, że nie są wilkami. — Podczas kiedy Franzos, Sacher-Masoch i t. p. szukają postaci swych z latarką tendencyjną w mgle nocnej po bagniskach polskich, przedstawiając nam jakieś mglane upiory, ziejące zarazą, — Fliess chwyta bohaterów swych w dzień jasny pomiędzy ludźmi z ciała i krwi, z wszystkiemi ich dodatniemi i ujemnemi stronami, dowodem czego najlepszym jego „Ge-

---

którym pogardzasz! Zgnieść go zupełną, pyszną obojętnością o to, czego jest wart!

WANDA.

Cóż mam tłomaczyć? Wszystko coś pan mówił jest dla ciebie pewnikiem.

LEON (*gwałtownie*).

Pytaniem! Oskarżeniem!

WANDA (*dumnie*).

Lecz mnie niema na ławie oskarżonych!

LEON (*wzburzony*).

Wando!... (*urywa*) nie! obłędu tu dostać można! Dla czego pani grałaś? Dla czego? (*wybiega*) Boże, jaki ja jestem głupi!

(*Leon wybiegając potyka się o Rózię płaczącą u drzwi.*)

LEON (*szorstko*).

Co ty tu robisz?

RÓZIA (*nie podnosi twarzy, głosem pełnym łz*).

Słuchałam... czekam, by pani grała....

LEON (*gwałtownie*).

Ty płaczesz!

RÓZIA (*podnosi twarz*).

Słyszałeś, jak grała?... Wszystko gra jeszcze smutnie, bolesno... słyszałeś, jaka ona nieszczęśliwa?... (*wybucha łkaniem*) Siądź i płacz także!

(*Wanda wbiega i chwyta Rózię w objęcia.*)

LEON (*walczy z sobą*).

Głupie dziecko! Mazgaj!

RÓZIA (*gwałtownie*).

Tyś zwierzęciem, jeżeli nic nie czujesz!

LEON.

A ty histeryczką, dostającą spazmów za lada powodem!

WANDA (*do Leona*).

Co jej się stało?

LEON.

Ma atak nerwowy. Rzeczą pani ratować tych, których gubisz.

WANDA (*gwałtownie*).

Co ja jej zrobiłam?...

LEON (*zimno*).

Grałaś; rozkoszuj się jej łzami! Wszak to tryumf, tryumf geniusza! Pani nie cierpisz, grając, a innych przyprawiasz o męki.

WANDA (*ściska w objęciu Rózię*).

Róziu!

(*Rózia zarzuca jej ręce na szyję i łka konwulsyjnie, głuche milczenie, Wanda patrzy w dal, Leon na nie.*)

LEON (*szydersko*).

To się nazywa zbawiennie wpływać na ludzi.

RÓZIA (*zrywa się gwałtownie, z oburzeniem*).

Tak! Lepiej mi z tymi łzami, niż gdy słucham twych kazań o pożyteczności!

LEON.

Nie odpowiadam ci, boś teraz obłąkaną, niepoczytalną, boś prostą zabawką pani!

RÓZIA (*gwałtownie*).

Wolę być jej zabawką, niż twoją! Jej siła jest wielką i dobrą, a ty jej nie masz i dla tego jej zazdrościsz!...

WANDA.

Róziu!...

LEON (*dotknięty, blady*).

O, proszę panią, nie bądź wspaniałomyślną aż do brania mnie w swą opiekę! Tylko wiedzcie obie hypnotyzerka i medyum, że zazdrość można tylko rzeczywistej potęgi. Hystervczna gra robi wrażenie tylko na chorobliwych ustrojach.

RÓZIA (*z błyszczącymi oczyma*).

Tyś więc zdrowy?...

LEON (*szyderczo*).

Nie wszystkich opętała, jak ciebie, nie wszyscy są jej maryonetkami!

WANDA.

Róziu, nie unoś się; twój brat należy do ludzi, którzy muszą wyrzucić z siebie cały zapas nagromadzonej żółci, by być później dobrymi.

RÓZIA (*namiętnie*).

Jak pani możesz być tak spokojną! Wszak ciebie wszyscy powinni kochać i czcić!

WANDA (*wstrząsa głową, z zadumą*).

Nie... pan Leon ma słuszność, przeceniasz mnie, dziecko.

LEON (*z żółcią*).

Jak doskonale umiesz pani stosować się do okoliczności! Bez zarzutu!

schichten aus dem Osten des deutschen Reiches". Ukazały się do tego czasu trzy, t. j. „Zal Mawet" — „Die drei Erynnien" i „Der Proboszcz" — a autor obiecał swego czasu więcej. Prosimy.

Wątpię, czy Erich Fliess zużyłby jako motyw powieściowy zdarzenie z dni ostatnich n. p. pod tytułem „Das Ehrenwort eines polnischen Edelmannes", piętnujący niecną frymarkę ziemią ojczystą i bryzgający przez to całemu naszemu ziemiaństwu w twarz obelgą. A gdyby to uczynił, przekonany jestem moralnie, że podzieliłby równo światło i cień, że nie biłby z tego kapitału sposobem Franzosów itp. celem zohydzenia całego społeczeństwa. — W „Trzech Eryniach" n. p. wprowadza autor czytelnika do dworku polskiego szlachcica, w którym rozgrywa się ku końcowi powieści romans pomiędzy siostrzeńcem tegoż, oficerem pruskim pozasłużbowym, Niemcem, a daleką tegoż krewną, polką, młodą wdówką. Szlachcic ów to typ jakich wiele, poczciwiec stary, żyjący tradycyjnemi bajkami, wiecznie narzekający na ciężkie czasy, a przytem spijający niezmiernie dobrego węgrzyna. Autor, zdaje się, sam lubi węgrzyna, wysuwając go raz poraz na miejsce pierwszorzędne we wszystkich powieściach, i zdaje się, jakoby uważał go wogóle za czarowny jakiś trunek, pod wpływem którego nawet młody oficer niemiecki roztajał i poszedł na lep pięknych ócz młodej wdówki. Tak, „nullum vinum nisi hungaricum", kogo na to starczy. Zdaje się, jakoby w węgrzynie leżała jakaś siła na dnie, kojarząca poważnione i przeciwne żywioły. O ile w tem prawdy, nie naszą rzeczą dowodzić, pozostawmy to fizyologii i chemii. Lecz żart na stronę.

Jakkolwiek autor szczerze sympatyzuje z Polakami, nie spodziewajmy się z jego strony egzaltowanych tyrad i wonnych kadzideł. Że n. p. hrabina owa w „Eryniach", którą młody oficer w drodze do wuja spotyka na werandzie, ma suknię białą problematycznej czystości, jako też w „Proboszczu" pani Zabłocka ukazuje się w oknie w kaftaniku niezbyt, że tak powiem, świeżym, lub też, gdy mówi autor o dzieciach wiejskich, że odziane w brudną koszulinę, dzierżą na „czworokątnej włościańskiej kołtonowatej głowie" baranie czapki swych rodzicieli, to niejedną czytelniczkę może ubodzie, lecz mniejsza o to. Nie jest to wynikiem niechęci lub uprzedzenia — prędzej wynikiem naturalnym, bezwiednym, realistycznego jego pióra, które pod tym względem więcej jeszcze rozmachało się w pierwszej powieści „Zal mawet". Lecz, jak powiedziałem, Fliess równo rozdziela światło i cienie; rodzina Zabłockich, zbankrutowana szlachta brukowa, łatająca dziury karmazynem, ma w przeciwstawieniu starego hr. Twardowskiego, wzorowego gospodarza, idącego z prądem i postępem czasu. Cieni jest tam dużo, a zwłaszcza kobieta, Polka, niknie w półmroku, lecz za to tem jaśniej i wyraźniej wychodzą na plan pierwszy postacie takiego Wojciecha Przybylskiego „proboszcza", syna włościańskiego i opiekuna jego starego proboszcza", których poznamy lepiej, streściwszy w krótkich słowach całą powieść.

Msza pontyfikalna w katedrze gnieźnieńskiej zrobiła na poczciwej kobiecinie wiejskiej takie wrażenie, że odurzona blaskiem kap lśniących, kadzidłem i muzyką, ślubuje u stóp ołtarza św. Wojciecha, jeżeli będzie syn, poświęcić go stanowi duchownemu. Pan Bóg wysłuchał prośby i w dzień św. Wojciecha wydała na świat syna, któremu dano na chrzcie św. imię Wojciech. Mały Wojtek rósł jak ten kwiatek polny, a ludzie i kumoszki spoglądały na niego jak na przyszłego duszpasterza. Dowiedział się o tem proboszcz wsi Sokolniki, zajął się małym przyszłym swym konfratrem, wtajemniczając go, kiedy już był podrósł, w początki wszechmądrości gimnazyalnej. Odtąd nazywano Wojtka nie inaczej, jak tylko „proboszczem", mianem, które mu nawet młody panicz, hr. Ignacy Twardowski, przyznawał. Chłopak rósł jak na drożdżach i przyszedł czas wreszcie, kiedy go opiekun i dobroczyńca jego wyprawiał do gimnazyum. „Ojczyzna i Kościół — oto dwa skarby drogie, które kiedyś twej pieczy powierzone zostaną. Klęknij, synu, i przyjm błogosławieństwo Kościoła" — takiemi słowy pożegnał go proboszcz — bryka ruszyła i ojciec zawiózł go do miasta, oddając go na stancyę do ciotki Pelagii, poczciwej szewcowej. Zdał egzamin do kwinty, gdzie spotkał się z młodym hr. Ignacym, który go po kilku latach, kiedy „proboszcz" już był prymanerem, wprowadził w dom państwa Zabłockich jako korepetytora. Żyjąc po sprzedaniu wsi w smutnych warunkach, zamieszkali Zabłoccy skromne pomieszkanie na przedmieściu. Z czego żyli, nikt nie wiedział; czem żyli? — Pan Zabłocki był bez zatrudnienia „wiodąc żywot szlacheckiego próżniaka" — pani Eufemia zaś żyła polowaniem na męża dla swej Anielki, paplaniną francuzką, fortepianem i romansami. Ignac Twardowski, który zalecał się do Anielki, wybrał na korepetytora dla małego Zabłockiego proboszcza, jako najmniej niebezpiecznego rywala. Tymczasem „proboszcz" ani wiedział, jak sam się w Anielce pokochał. Pani Eufemia zauważyła to i poczęła układać plany, rozumując, że Wojciech nie koniecznie zostać potrzebuje księdzem, może zostać n. p. profesorem, a potem . . . pozostanie rezerwistą, gdyby Ignac Twardowski się miał sprzeniewierzyć. Zbliżył się czas matury. Wojciech zdał chlubnie egzamin, a pani Eufemia przekonała go o wzajemności Anielki i skłoniła do tego, że poszedł na uniwersytet i słuchał filologii. Różaniec i modlitwa okazały się nieskutecznymi, by odpędzić od biednego „proboszcza" demona ziemskiej miłości . . . i uległ. Wojciech zawiadomił listownie o kroku swym dobrodzieja swego, proboszcza, który w odpowiedzi nie miotał nań klątwy, lecz godząc się z wolą wyższą, przysłał przebaczenie swe i błogosławieństwo, nie tracąc nadziei, że Wojciech się upamięta. Po latach kilku zdaje Wojciech egzamin doktorski i wraca w dom Zabłockich na zaręczyny z Anielką. Pani Eufemia żałuje kroku swego tak stanowczego, dowiedziawszy się, że stary hr. Twardowski śmiertelnie chory, po śmierci którego nie trudno by jej może było skojarzyć Ignaca z Anielką. Zaręczyny się odbywają, młody Twardowski zjawia się niespodziewanie z żałobą po ojcu. Anielka widzi go, tajona miłość rozdziera jej serce i pada martwa w ramiona narzeczonego. Wojciech widzi w tem palec Boży, jedzie do Rzymu i zostaje księdzem. Odebrawszy święcenia kapłańskie, donosi o tem proboszczowi, który list jego otrzymuje w chwili, kiedy wybiera się z Najśw. Sakramentem do łoża śmiertelnie chorego starego Przybylskiego, ojca Wojciecha. „Błogosławioną niechaj będzie Najświętsza Marya Panna! Wojciech jednak proboszczem zostanie" — oto słowa ostatnie umierającego.

Dla scharakteryzowania sposobu pisania autora dodam, że przeplata powieści swe zwrotami polskiemi, tłomacząc je odnośnie na niemieckie. Dając wyraz sympatyi niemieckiemu autorowi, wyrażam nadzieję, że wkrótce nam da więcej owoców talentu swojego. Jedno pozwolę sobie jednakże położyć „ale", t. j. żeby w przyszłości pomyślał także o świetlejszych typach kobiety polskiej, w miejsce górującego typu szlacheckiej rajfurki, kupczącej ręką swego dziecka.

Zarzut ten łagodzi jedynie typ Anielki, tej białej, niewinnej róży wodnej, kołyszącej się w całej swej czystości i nieskazitelności na mętnej, błotnej wodzie stosunków familijnych, oraz typ matki Wojciecha, tej siermięgowej prostoty, ofiarującej najdroższe, co pod sercem nosiła, z najgłębszą wiarą i poddaniem się Bogu. Nie działają one co prawda bezpośrednio, są jednakże owym claire-obscure, pośredniczącym pomiędzy światłem i cieniem.

Gniezno w wrześniu.

Alastor.

WANDA (*z głęboką, litosną ironią*).
I myślisz, że się z tobą liczę, niepowołany aż do absurdu domyślny sędzio!

RÓZIA (*zrywa się i staje przed Leonem*).
Czy ty wiesz, że pani jest nieszczęśliwą, jak żadne z nas, i wielką, tak wielką, żeś niegodny zamiatać drogi, po której chodzi, słuchania jej muzyki i patrzenia jej w twarz.

WANDA (*gniewnie*).
Róziu! przestań, to niema sensu!

LEON (*gorzko*).
I pani mówisz, że ci nie chodzi o bałwochwalstwo ludzi!...

WANDA (*z poważnem spojrzeniem*).
Co robię, by je mieć?...

LEON (*gwałtownie*).
Gdybyś go nie pragnęła, nie objawiałabyś swej siły!...

WANDA (*śmieje się szydersko*).
A!

RÓZIA (*wybucha śmiechem*).
Ty chyba dostajesz bzika... To zupełnie to samo, jakbyś pięknej kobiecie, którą wielu do szaleństwa kocha, zrobił zarzut, że nie oblała sobie witryolem twarzy, by, stając się brzydką, przestała budzić miłość!

LEON (*traci panowanie nad sobą*).
Tak! gdybym ją kochał, zrobiłbym jej ten zarzut! Oblałbym ją sam witryolem, by mnie przestała dręczyć!

(*Wanda podnosi nagle twarz i wpatruje się w Leona.*)

RÓZIA.
Ha, ha! wyszło szydło z worka! Więc ty, apostoł pożyteczności, jesteś tak drapieżny?...

LEON (*upokorzony, skrępowany wzrokiem Wandy*).
Uważam, że wszystko co wywołuje cierpienie, powinno być usunięte.

RÓZIA.
To zależy od cierpienia... i jego wpływu na nas... wolę cierpieć z panią Wandą, gdy gra, niż cieszyć się z tobą, gdy wygrasz sprawę; i ją wolę, choć taka dziwna, niż ciebie, choć jesteś taki zwykły i zadowolony.

WANDA.
Mylisz się, Róziu; on chce być podobnym do drugich, i nie może, i to go dręczy... wszak tak jak on nie postępują inni.

LEON (*z dreszczem gorzko*).
Nie! nie chcę, ale jestem człowiekiem przeciętnym i nie pragnę być niczem więcej.

WANDA.
Przeciwnie, chcesz pan być czemś mniej niż jesteś; upatrujesz wzór w pospolitości, bo pragniesz od niej spokoju... którego nie posiadasz, miotany wbrew swej woli koniecznością wyższej przemiany... Nie masz odwagi być tem, czem być możesz, nawet tem, czem jesteś. I mimo wszelkich usiłowań nie staniesz się całkiem do ludzi podobnym, co najwyżej być możesz mieszaniną pospolitości i wyższości piasku i złota, płaskości i głębokości; twój niepokój jest walką lepszych i indywidualnych popędów z nałogami życiowej małości... I dla tego ten bunt przeciwko wszystkiemu, co stoi ponad powszedniością, co oburza ferment twego dławionego ja, co obnaża twą odrębność i nie pozwala zapaść w ciszę jałowości... otulać się w liberyę moralną pospolitego życia...

LEON (*wzburzony*).
Na co się doskonalić?... Wyodrębniać?... Spełniajmy swe obowiązki ludzkie, a czem jest dusza mniejsza!

WANDA.
Kto nie postępuje, cofa się; kto pływać nie chce i wydobyć się na powierzchnię wody, musi utonąć.

RÓZIA.
Ty tego nie rozumiesz?...

LEON (*rozdrazniony*).
Idź Róziu, drażnisz mnie!

WANDA.
Bądź dobrą dla brata!

RÓZIA (*odchodząc*).
Nie chcesz, bym była z Wandą!

LEON (*gorzko*).
Mów pani dalej, powiedziałaś mi gorzkie, gorzkie rzeczy! Lecz czego nie zniosę od ciebie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

BADANIA NAUKOWE.

Kryminalistyka polityczna.

L. PROAL. „La criminalité politique“, Paris, 1895.

W chwili dzisiejszej, gdy korupcya społeczeństwa europejskiego doszła niemal do szczytu, gdy parlamenty staczają się coraz głębiej w przepaść stronniczych walk i czczych debatów, gdy wreszcie szumowiny proletaryatu umysłowego, w rodzaju anarchistów francuzkich, rzucają się z nożami na przedstawicieli rządów i usiłują bombami zgruchotać świątynie Pańskie — warto usłyszeć, co mówią ludzie sprawiedliwi i rozsądni, którzy rozumieją dobrze stan rzeczy i jasno widzą drogę, wiodącą do uzdrowienia społecznego ducha. Do takich właśnie należy Ludwik Proal, autor książki „La criminalité politique“ („Przestępczość polityczna“), w której rzuca potężne światło na spaczenia polityki. Proal jest członkiem trybunału apelacyjnego w Aix i twórcą uwieńczonego przez akademię nauk moralnych i politycznych dzieła, p. t. „Le crime et la Peine“ („Przestępstwo i kara“), w którem wystąpił przeciwko zbyt luźnym teoryom C. Lombroso o fizyologicznem pochodzeniu przestępstwa. Na stanowisku sędziego Proal miał do czynienia z licznemi okazami anarchistów i dla tego książka jego o przestępstwach politycznych nie jest suchym traktatem; przeciwnie, rzecz to pełna żywej a płodnej idei, szlachetnego oburzenia i niekiedy piołunowej goryczy, zwłaszcza, gdy autor zwraca się ku przeszłości i rozwija obraz przestępstw politycznych wielkiej rewolucyi.

Już we wstępie powiada Proal, że kwestya polityczna, podobnie jak kwestya socyalna, jest przedewszystkiem kwestyą moralną. Prawdziwym celem polityki jest czynić ludzi doskonałymi pod względem moralnym, a polityka tem większą posiada odpowiedzialność, że wpływa na masy. Niema większego złoczyńcy nad przestępcę politycznego, bo on dla swej żądzy gubi całe społeczeństwa i zatruwa życie całych pokoleń; podobnież i partye, rządzące krajem nieuczciwie, wpychają go na długie lata w mętną otchłań niedoli i co gorzej, wypaczają pojęcia obowiązku społecznego. Mężowie stanu powinni być wzorem cnót moralnych; tymczasem ludzie, upojeni władzą, uświęcają nieraz największe gwałty gwoli zadośćuczynienia swoim instynktom. Niedarmo też Napoleon I powiedział o sobie na łożu śmierci: „Władza odurza ludzi“. Wszystko nieraz poświęca się dla smutnych zasad, w rodzaju: „siła przed prawem“, albo „dobro ludu jest prawem najwyższem“, i niema chyba wykroczenia, którego nie usprawiedliwiłaby t. zw. „racya stanu“ (raison d'état). Istnieje jakby podwójna moralność: polityki i życia prywatnego, tak, iż ludzie, w życiu codziennem postępujący dobrze, zupełnie przeciwnie postępują w polityce. Rzymianie starożytni i współcześni Anglicy, u których poczucie sprawiedliwości w życiu prywatnem jest tak wielkie, nie wahali się jednak dla „dobra“ państwa używać środków niesprawiedliwych; Machiawel zaś onego czasu wprost zalecał posłom, ażeby dbali o swoją sławę ludzi uczciwych, gdyż w ten sposób lepiej potrafią oszukać przeciwnika.

Autor książki zalicza do dziedziny kryminalistyki politycznej wszelkie objawy moralnych spaczeń na tle społeczno-politycznem, oraz wszystkie zbrodnie, popełniane w celach politycznych. Rzecz prosta, że go zajmują w pierwszym rzędzie objawy anarchizmu: dzieło swe Proal pisał w czasie największego naprężenia opinii publicznej we Francyi, poruszonej zeszłorocznemi zamachami anarchistów. Ze stanowiska moralności anarchizm jest ostatnim wyrazem zdziczenia i Proal nie widzi w nim najmniejszej racyi, jaką mu raczą przypisywać krytycy społecznego ustroju w Europie. Zanim jednak przejść do moralnej analizy anarchizmu, Proal czyni rzut oka na najdawniejszy w historyi świata objaw przestępczości politycznej, mianowicie na t. zw. królobójstwo, popełniane dla dobra ludu lub kościoła, zwraca uwagę na całą jego ohydność. A były jednak czasy, gdy zabójcy monarchów przygotowywali się do swoich czynów praktykami religijnemi, jak np. słynny Clément, który uśmiercił Henryka III.

Anarchizm — to zjawisko nowożytne, lecz w zasadzie swojej równie stare, jak polityka. Dawniej zabijano królów; teraz mordują prezydentów republik i nawet po prostu ludzi, należących do burżuazyi. Ręką anarchistów kieruje ta sama obłudna i nieuchwytna maksyma: „dobro ludu“. Ponieważ władza przeszła teraz do zgromadzeń prawodawczych, anarchiści rzucają bomby w parlamentach; ponieważ rząd, według ich zdania, jest wybrany i broniony przez klasy posiadające, przeto rzucają oni bomby wszędzie, gdzie przedstawiciele tej klasy znajdują się w większej liczbie: w teatrze, w sądzie, w kawiarni, nawet w kościele. „Dobro ludu“ omamia ich i popycha do strasznych wybryków i mordów masowych. Już Danton za czasów wielkiej rewolucyi wygłosił sofizmat, że „dobro ludu wymaga wielkich środków i strasznych czynów“. Anarchiści wyrażają tę samą myśl w słowach: „społeczeństwo jest chore; aby je uzdrowić, trzeba wyrżnąć burżuazyę, ponieważ ona to przeszkadza ludowi być szczęśliwym“. Zbliżeni do Jakobinów z roku 1793 w swych teoryach politycznych, anarchiści różnią się jednak od nich w poglądach na własność i rząd: Jakobini usiłowali je utrzymać, anarchiści pragną zburzyć.

Już podczas wielkiej rewolucyi wystąpili na scenę ludzie, nazywający własność — kradzieżą, zaś bogatych — złodziejami. Pisma wolnomyślnych filozofów wieku zeszłego (Mably, Diderot, Rousseau) przygotowały grunt pod zasiew tych pojęć o własności. Dzisiaj one wybujały i taki n. p. Elizeusz Réclus pisze bez ogródek: „Należy zapewnić wszystkim całkowite zadowolenie potrzeb i używanie życia“. Z podobnych poglądów wylęga się wniosek, że bogaci wrzekomo są przyczyną istnienia ubóstwa, zaś religia winną jest, że nie pozwala na szalone panowanie namiętności i żądz. Nic zatem dziwnego, że Proudhon, ów „nieśmiertelny ojciec anarchizmu“, jak go nazywa słynny Krapotkin, wygłaszając maksymę: „własność jest kradzieżą“, dodaje natychmiast: „zaś katolicyzm — to wróg“. Gdy więc własność uznaną została przez anarchistów za kradzież, sama kradzież w oczach ich nabrała godności restytucyi (przywrócenia prawa). Proal w praktyce sądowej miał do czynienia z oskarżonym o ciężkie kradzieże anarchistą, który mu powiedział: „nie jestem złodziejem, ale przywrócicielem prawa (restitutionnaire). Bogaci byli i są przedmiotem nienawiści, ponieważ na nich można uprawiać wszelkie restytucye“. Podczas wielkiej rewolucyi francuzkiej arystokraci i duchowieństwo ulegali strasznemu prześladowaniu nietylko za to, że byli przedtem panami, lecz i za to, że byli bogaci; biała i delikatna skóra rąk była wówczas dostatecznym powodem do skazania kogoś na śmierć. Rewolucye wogóle odznaczają się gwałtowną żądzą zniwelowania wszystkiego do jednego poziomu; niwelują zaś dla tego, aby dać folgę pospolitej zawiści. Armia więc, która wyróżnia się z ogółu ludności uprzywilejowanem położeniem i karnością, stanowi szczególny przedmiot zabiegów partyi anarchistycznych w czasach obecnych. Broszury przeciwko wojsku ciągle się mnożą, żołnierze nawoływani są do nieposłuszeństwa władzom i do „zbratania się“ z ludem.

Podobnie jak niektórzy wybujali pisarze propagowali z przesadnemi skargami zniesienie małżeństwa, państwa i stosunków towarzystkich dla „szczęścia“ ludzkości, tak też i anarhiści usprawiedliwiają dziś wszelkie przestępstwo, bunt i przewrot „szczęściem“ ludzkości. Oni

---

Hr. LEW TOŁSTOJ (syn).

POKUSA.

I.

Nad ranem dnia 12 stycznia 189* obudził się student Własow w znakomitym humorze. Niebieskie, okrągłe oczy patrzyły ku białej niskiej posowie pokoiku, do którego się był przywiązał. Czerwonawe światło dopiero co wschodzącego słońca wpadało przez szronem zakute szyby małych okienek bez zasłon, czuł, że dłużej już spać nie może, chociaż było jeszcze bardzo wcześnie.

— Jak ładne, jak przyjemne, jak wesołe jest życie — to była jego pierwsza myśl.

W izdebce było zimno, parę oddechu można było dostrzedz, lecz w wygrzanem łóżku, pod kolorową wełnianą kołdrą, którą ręka matki zrobiła, było mu przyjemnie, a zimny prąd powietrza, muskający mu oblicze, chłodził go.

Kolega Własowa, Iwański, spał jeszcze na swem żelaznem, pogiętem łóżku. Chrapał dosyć głośno pod wytartym studenckim płaszczem, którym się przykrył ten olbrzym. Twarzą obrócił się do pieca, skulił się i tylko tęgi jego kark i krótko przystrzyżona głowa, czarnym pokryta włosem, były widoczne.

Własow podniósł się, spojrzał na niklowy zegarek, a potem na swego kolegę.

— Niech śpi — pomyślał. Jeszcze wcześnie. Wczoraj późno w noc czytał. Jakżeż on dziś się zachowa, obawiam się o niego.

Własow rozciągnął się znowu i przykrył się kołdrą aż pod samą brodę.

Twarz jego dobroduszna, otwarta, z dołkami na świeżych policzkach, z nosem szerokim, w górę wygiętym, przybrała wyraz szczerego, naiwnego uszczęśliwienia. Usta złożyły się do uśmiechu pełnego zadowolenia, oczy jego błyszczały, cały wygląd wyrażał świeżość i zdrowie. Całość robiła wrażenie czystości młodzieńczej, którą spostrzeżesz tylko u młodzieńca niezepsutego i niewinnego — niewinność taka pociąga.

Na pierwszy rzut oka niktby nie pomyślał, że młodzian ten jest studentem, który już przyswoił sobie cały obszar mędrkowatej histologii. Własow założył obie ręce pod głowę, pokrytą bujnym, miękkim, jasnym włosem i rozmyślał.

— Dzisiaj dzień Tatjany, dzień założenia uniwersytetu, pierwszy taki dzień w życiu jego studenckiem; obchodzić go będzie jako dorosły. Ucztować będzie z wszystkimi w restauracyi, przysłucha się wszystkim mowom, przypatrzy się tej przedziwnej równości i swobodzie panującej w dniu tym pomiędzy profesorami i studentami.

— Pyszne uczucie być akademikiem — snuł Własow wątek swój dalej — odczuwa się, że się jest człowiekiem, istota cała się zmienia: jakby skrzydła wyrosły. Inaczej to jak w gimnazyum, gdzie się profesorowie wydają jak wyższe istoty, gdzie się czuje wobec nich małym, głupim, niezdolnym. Tu wszystko całkiem inaczej wygląda. Iwański mówił mi, że w dniu tym wszystko się łączy: i studenci i profesorowie. Jak to swobodnie się wszystko obraca, bez żadnej sztywności w obejściu! Przepiękne to być musi.

Własow począł sobie wyobrażać, co on to w dniu tym ujrzy i przeżyje, wszystko, o czem tylko słyszał z opowieści i co znał dotąd z własnej fantazyi.

— Głównie przy uczcie za wiele nie jeść! Postanowił to sobie mocno, gdy pomyślał o pijaństwie, które w dniu tym jest nieodzowne. Wypiję tylko cokolwiek dla przyzwoitości. Wieczorem pójdę do teatru. Połączę pożyteczne z przyjemnem, widząc sztukę Ostrowskiego. Potem natychmiast pójdę do domu. Na drugi dzień znowu do pracy i znowu zacznie się regularne życie. Pysznie! Jak to przyjemnie wzbogacić się wiedzą, o której się ma przekonanie, że jest pożyteczną. Pół roku studyi minęło. Jeszcze $4\frac{1}{2}$ roku, a zostanę lekarzem, doktorem, tak przecie tytułują lekarzy — doktor Własow. Powrócę do mego rodzinnego gniazda, do S., pozyskam wielką praktykę, sława moja rozgłosi się po całem mieście, tak jak teraz

o wymyślili sofizmat, jakoby człowiek pojedyńczy mógł i miał prawo zastąpić państwo, aby pomścić krzywdy i zapobiedz niesprawiedliwościom. Zepsucie obyczajów i pojęć w znacznej mierze obciąża sumienia wielu lekkomyślnych romansopisarzy i dramaturgów, którzy proponowali uzupełnić „prawa mężczyzny i kobiety“ prawem „miłości i cudzołóstwa“. Poeci uporczywie domagają się od społeczeństwa „prawa alimentów“. Filozofia materyalistyczna chce „prawa szczęścia i używania“; socyaliści wytoczyli „prawo pracy“, rewolucyoniści „prawo wywrotu“. Wszystkie te „prawa“ wieńczy wynalezione przez anarchistów prawo „kradzieży i mordu“. Podobnie jak autorowie dramatyczni bohaterom swoim dla zaspokojenia ich namiętności nadali prawo „witryoleju i pistoletu“, tak też anarchiści proklamowali prawo „dynamitu“. Wprawdzie niektórzy anarchiści wykazują wobec gilotyny spokój, właściwy fanatykom; lecz ogromna ich większość, głosząc „prawo mordu“, sama jak najstaranniej unika śmierci, usiłując spiesznie uciec po dokonanym zamachu.

Historycy usprawiedliwiają wielkie polityczne mordy racyą stanu, nauki przyrodnicze, materyalne — walką o byt. To są dwie najstraszliwsze pomyłki, jakich się umysł ludzki w stosunku do społeczeństwa dopuszcza; sprowadzają one opłakane następstwa. Podziwianie mordów rewolucyjnych en bloc jest grzechem społecznym nie do darowania, historycy jednak grzeszą i pod tym względem. Należałoby przedewszystkiem wniknąć w pobudki moralne tych mordów, a wtedy zamiast podziwu zostałoby przerażenie. Przestępcy polityczni obecnych czasów, w rodzaju Ravachola Vaillanta, byli ludźmi nawskroś zepsutymi moralnie; temu spaczeniu duchowemu odpowiadało najzupełniej ich wykształcenie umysłowe, oparte wyłącznie na sofizmatach materyalizmu. Wprawdzie nie wszyscy ateusze i materyaliści są anarchistami, lecz za to wszyscy anarchiści są ateuszami i materyalistami, powiada Proal, Vaillant zeznał wprost, iż idee swe zaczerpnął z dzieł Büchnera i teoretyków ewolucyonizmu. Nic w tem dziwnego, bo doktryna materyalistyczna, zarzucona już dzisiaj w nauce, wciąż jeszcze wsiąka w umysł ludu za pomocą broszur agitacyjnych „dzienników“, zgromadzeń i tanich wydawnictw. Ravachol dowodził, że czyn jego był „koniecznością życia“ i że zabójstwa swe popełniał dla zadośćuczynienia potrzebom osobistym; winnem jest społeczeństwo, które nie pozwoliło mu zostać szczęśliwym i bogatym. Wszyscy wykolejeni, niedołężni, ambitni, którym się nie powiodło, oskarżają społeczeństwo: tak też czynią i anarchiści. Uskarżają się oni cynicznie, że nie osiągnęli w społeczeństwie szczęścia: szczęście zaś zawiera się dla nich w używaniu życia za jaką bądź cenę. Ubóstwo, a raczej niezamożność (bo w Europie każdy człowiek pracowity może łatwo wyjść ze stanu ubóstwa) jest dla nich rzeczą „wstrętną“ („abjecte“, jak je nazywa Darwin). Żądza używania prześladuje ich ciągle: napadają na religię i kodeksa praw za to, że nie sankcyonują cielesnej chuci; napadają na nauki moralne, które nie pozwalają składać hołdów osobistym zachciankom; odrzucają nawet samą ideę moralności, idąc za Nitzschem, który powiedział, że nie ma „nic głupszego nad pojęcie moralności“. Renan otwarcie przyznawał się, że woli masy niemoralne, niż sfanatyzowane przez wiarę. W następstwie tego pomiatania moralnością wytworzyły się dwie sfery: wyższa — ludzi „wykształconych“, cieszących się szczęściem, powodzeniem i życiem, i niższa — ludzi pragnących tego szczęścia i gotowych użyć wszystkich sposobów dla osiągnięcia celu. Młodzież, którą do anarchizmu doprowadziła teorya „walki o byt“, odznacza się wybujałym egoizmem i pełna jest nienawiści. Przyzwyczajona uważać ludzi za wyższy gatunek zwierzęcy. Wychowanie, pozbawione kierunku moralnego, nie uczy jej prawdziwej mądrości, nie daje poczucia sprawiedliwości; napawa ją jedynie pychą i żądzami. Filozofowie w rodzaju Renana pamiętać powinni, że niemoralność nie wyklucza fanatyzmu, czego dowodem są anarchiści; nie wyklucza go podobnież wiedza ścisła.

St. Hł.

(Dokończenie nastąpi.)

SPRAWY EKONOMICZNE.

Fakty z życia ekonomicznego.

(Notatki).

(Walki fabrykantów z robotnikami. — Statystyka strejków. — Kto zwycięża? — Sądy rozjemcze.)

Omawiając przed kilku miesiącami związki przedsiębiorców, wskazywaliśmy na wpływ, jaki te związki wywrzeć muszą na ukształtowanie się stosunków pomiędzy przedsiębiorcą a najmitą. Podajemy więc dziś czytelnikom wiązankę faktów potwierdzających wspomniany wniosek.

W Anglii fabrykacya obuwia jest dziś gałęzią wielkiego przemysłu, zatrudniającą około 50,000 robotników. Robotnicy ci tworzą stowarzyszenie; przedsiębiorcy również połączyli się, tworząc „Fedcrated Association“ fabrykantów obuwia. W marcu roku bieżącego robotnicy zagrozili strejkiem, domagając się wprowadzenia ogólnych norm przy obliczaniu zarobków. Fabrykanci bowiem zmieniali system płacy akordowej na dniową i odwrotnie, stosownie do stanu wyniku, płacąc akord wówczas, kiedy popyt wzrastał, dniówkę przy złym stanie interesów, zatrudniając robotników tylko w miarę potrzeby i obniżając płacę. Na to żądanie przedsiębiorcy odpowiedzieli wielkim „loekout“, to jest zawieszeniem pracy we wszystkich fabrykach, które zapisane były do stowarzyszenia, bezwzględnie, czy robotnicy tam mieli zamiar sztrejkować czy nie. W ten sposób 16 marca 46,000 robotników, pomiędzy nimi 17,000 kobiet i dzieci, zostało bez zajęcia. Licząc więc, że z mężczyzn 20,000 ma rodzinę i licząc po 4 osoby na rodzinę (co jest mało nawet na stosunki angielskie), otrzymamy minimum 100,000 ludzi pozbawionych zarobku. Sekretarz „biura pracy“ zwołał delegatów obu stron na posiedzenie w celu układów. Robotnicy zażądali zagwarantowania płacy minimalnej 26 szylingów tygodniowo; przedsiębiorcy chcieli zgodzić się tylko na płacę minimalną określoną dla każdej miejscowości. Po długich debatach przyjęto powyższą normę i zaprowadzono sądy rozjemcze co do systemu akordowego. Każda ze stron złożyła 1000 funtów szterlingów kaucyi, że umowy dotrzyma i w końcu kwietnia pracę rozpoczęto na nowo. Jest to więc zawieszenie broni zawarte pomiędzy dwoma przeciwnikami o równej sile, zawieszenie broni a nie pokój ostateczny, gdyż prawie na pewno przewidzieć można, że drobiazgowo określony akt ugody zostanie przez tę lub ową stronę naruszony, co pociągnie za sobą nowe zatargi.

O ile w danym wypadku przedsiębiorcy znaleźli się wobec silnej organizacyi, składającej się z ludzi względnie wyćwiczonych w karności trade unionów i zasobnej w fundusze znaczne, o tyle w innym wypadku, jaki mamy do zaznaczenia, można było prawie na pewno powiedzieć, na czyją stronę przechyli się zwycięztwo.

W Grenchen, miejscowości słynnej z wyrobu zegarków, położonej na południowym stoku Jura w kantonie Solothurn, robotnicy jednej z fabryk zastrejkowali z powodu, że nie dotrzymano im warunków, na jakie przedsiębiorca zgodził się dla ukończenia zeszłorocznego zatargu. Wówczas stowarzyszenie przedsiębiorców „Vereinigte Ebauches-Fabrikanten von Grenchen und Umgebung“, obejmujące 5 fabryk, wypowiedziało robotę za dni 14 wszystkim zatrudnionym w tych fabrykach. Urzędowa interwencya inspektora fabrycznego nie zdołała przełamać uporu przedsiębiorców, którzy oświadczyli, że z żadną organizacyą robotniczą w układy wchodzić nie będą.

---

ojca Iwańskiego. Zabawny chłop ten Iwański. Mówi, że nie czuje najmniejszej ochoty grzebać w trupach, dla tego poświęca się prawu. A jednak, jestże piękniejsza nauka, jak nauka medycyny? Można być ludziom pożyteczny, a przytem mieć dobre dochody. Lepszego zajęcia na świecie nie znajdziesz.

Potem marzył, jak się urządzi po ukończeniu studyi.

— Biednych będzie leczył bezpłatnie, odwiedzać ich będzie w ich wilgotnych mieszkaniach, pocieszać; od bogatych zażąda zapłaty. Ojciec będzie mógł porzucić swój urząd w kancelaryi i na starość wypocząć.

Własow pomyślał o mieście rodzinnem i o rodzinie. Myślą pobiegł do skromnego mieszkania rodziców do S., przejęła go wielka tęsknota za swoimi, chciałby ich uściskać, ujrzeć, porozmawiać z nimi. Wyraźnie zarysowała mu się postać matki: chuda, smukła kobieta, z wyrazem oka lękliwym, czystym, z wyschłemi rękoma. Kochał ją bardzo.

— Gdy skończę studya — myślał Własow rozrzewniony — urządzę i dom wygodnie. Pieniędzy huk zarobię, bo oprócz praktyki przyjmę jeszcze jaką kasę; na niczem nam nie będzie zbywało, jak to się teraz zdarza, że nie mogliśmy nawet szkolnego za siostrę zapłacić.

Uśmiechał się do siebie uszczęśliwiony, zatapiając się całkiem w marzeniach i nadziejach. Był tak świetnie dzisiaj usposobiony, jak nigdy.

— Jaki piękny, jaki śliczny ten świat! — powtarzał nieustannie, a tak był szczęśliwy, że radby wszystkich do serca przycisnąć, cały świat: swoich, Iwańskiego, profesorów, uniwersytet i naukę.

Opanowała go nagle ochota wywijać nogami, albo spłatać jakiego figla. Zaśmiał się nad swą zachcianką i leżał dalej spokojnie. Śmiech jego rozbudził Iwańskiego; przewrócił się w łóżku zaspany. Własow sądził, iż przyjaciel jego teraz wstanie, lecz gdy spostrzegł, że czarna jego głowa zanurzyła się pod płaszczem, zatopił się znowu w swych myślach. Spoglądał na trupią głowę na stole pod oknem, na nowo zakupione książki, radował się niemi niezmiernie. Przypomniały mu rzeczywistość i wskazały mu, że wszystkie jego myśli o rzeczywistości nie były czczemi marami, lecz zaczęły się urzeczywistniać.

Tam anatomia Sernowa, fizyka Herasa, chemia Kolbego, pod stołem leżą kości szkieletu, wydającego właściwą woń... tam na gwoździu wisi część kości pacierzowej, podobna do rzędu małych kółek. To wszystko nie fantazya, lecz rzeczywistość, podstawa przyszłej jego wiedzy i sławy. Własow począł rozmyślać nad wszystkiemi łacińskiemi nazwami pojedyńczych części czaszki. Wszystkie wiedział na pamięć, to go jeszcze lepiej usposobiło.

Opanowała go taka wesołość, że nie mógł się oprzeć powtórnej pokusie wywijania nogami w powietrzu. Zgiął kolana pod kołdrą i na piętach podniósł ją wysoko nad głowę. Naraz przypomniała mu się, nie wiedział sam dla czego, rzewna piosenka: „Czemu smutny w myślach tonę?“ Piosenkę tę śpiewały jego siostry w domu; rozłożył się znowu i śpiewał ją cicho, z przejęciem.

Tymczasem rozjaśniło się w pokoju. Słońce wyżej się podniosło i rzuciło swe blaski na okładki książek i czaszkę, wszystko błyszczało jak upolerowane. Czas wstawać. Dzień będzie zajmujący, pełen wrażeń, — wstanie więc i obudzi kolegę.

Nagle spostrzegł list od matki, który niedawno temu otrzymał, chciał go jeszcze raz przeczytać, po raz trzeci. Sięgnął po list, wydobył cieńkie kartki papieru i począł rozczytywać się w piśmie. W liście opisane było całe ich życie domowe. Potem następowały rozmaite matczyne obawy. Własow znał to wszystko na pamięć, lecz sprawiało mu przyjemność przenieść się myślą do swoich.

Wszystko tam jeszcze jak dawniej, wszyscy go kochają jak dawniej i często o nim myślą. Matka ciągle go uważa za zdolnego chłopca i żywi nadzieję, że wyrośnie z niego człowiek niezwykły. Co dzień modli się za niego i prawie o nim tylko myśli. Ojciec wierzy także w jego siły umysłowe.

Wówczas robotnicy, nie czekając terminu 14 dniowego, porzucili pracę, oświadczając, że uważają postępowanie fabrykantów za zamach na prawo koalicyi, zagwarantowane w konstytucyi. 454 ludzi żonatych, mających razem 767 dzieci, i 361 nieżonatych pozostało tym sposobem bez zajęcia. Robotnicy, będący członkami gminy, zwołali zebranie gminne, na którem uchwalono wydawać z kasy gminnej 500 franków tygodniowo na wyżywienie strejkujących niezamożnych. Zarazem przyjęto wniosek, że gmina postara się o założenie fabryki zegarków na swój rachunek. Po długim, siedmiotygodniowym uporze zgodzono się w końcu obustronnie na sąd rozjemczy, który zawyrokował, że fabryka, która dała powód do zatargu, musi spełnić dawniejsze swoje przyrzeczenia. Robotnicy jednakże ponieśli porażkę, gdyż fabrykanci formalnie oświadczyli, że należenie do związku robotniczego nie będzie powodem do wydalenia. jednakże zastrzegli, że przyjmą robotników tylko w miarę potrzeby, a potem z powodu stagnacyi w interesach nie przyjęli kilkuset. Co do założenia fabryki kosztem gminy okazało się, że majątek gminy pozwala na wydatek zaledwie 20,000 fr., potrzeba zaś kapitału 100,000 fr. Postanowiono tedy założyć towarzystwo akcyjne, w którem gmina weźmie udział i zastrzeże warunki możliwie korzystne dla robotników. Dotąd jednakże projektu nie urzeczywistniono. Widzimy więc, że pięciu przedsiębiorców złączonych może teroryzować całą gminą, jeżeli natrafi na organizacyę słabą. I oto w kraju demokratycznym, gdzie gmina ma rzeczywiście daleko idące kompetencye, a cóż dopiero, jeżeli, jak zwykle bywa, władze stają arbitralnie po stronie przedsiębiorców, uważając robotników za „buntującą kanalię“.

Dwa analogiczne wypadki jeszcze zanotujemy: w Kottbus robotnicy pewnej tkalni zawiesili robotę. Stowarzyszenie przedsiębiorców „Verein zur Wahrung der gemeinsamen Interessen der Tuchfabrikanten von Kottbus“ postanowiło zaprzestać robót we wszystkich fabrykach. Robotnicy ustąpili.

W Jutlandyi w Aarchus fabrykanci zawiesili „lock out“ przeciwko wszystkim robotnikom. Powodem było, że fabrykanci żądali, aby każdy czeladnik, starający się o robotę, legitymował się kartką od swego dawniejszego pracodawcy, w czem robotnicy nie bez słuszności widzieli środek prześladowania ludzi, którzy odznaczą się udziałem w ruchu robotniczym. Po zaciętej walce, trwającej 10 tygodni, fabrykanci zmuszeni byli ustąpić.

Widzimy więc, że „lock out“ robi szkołę i staje się międzynarodowym. Może się to przyczynić do zaostrzenia walki. Na przyszłość należy się spodziewać zatem strejków co raz mniej, ale co raz ogromniejszych rozmiarów.

Liczba strejków za rok ubiegły w Anglii i Francyi tak się przedstawia. W Anglii było ogółem 926 strejków, które dotknęły 306,000 robotników; z liczby robotników 17,4 procent odniosło zupełne zwycięztwo, 30,8 proc. częściowe, 51,8 porażkę. — W Francyi ogółem strejków 391, z udziałem 126,000 robotników. Co do rezultatów, zwycięztwo zupełne odnieśli robotnicy 24,3 proc., częściowe 47,5 proc., porażkę 28,2 proc. Licząc na każdy strejk przeciętnie 20 dni, przy przeciętnym zarobku 5 mr. (cyfra upoważniona, ze względu na wysokie płace robotników w Anglii, gdzie ceny wogóle są wyższe niż na kontynencie) to otrzymamy sumę 43,200,000 marek, którą w przybliżeniu tracą robotnicy tych dwóch krajów wskutek strejku. Straty poniesione przez fabrykantów nie dają się obliczyć, ale możemy je śmiało przyjąć na 60 milionów. Tak więc na zatargach gospodarstwo społeczne tych dwu krajów ponosi szkody 100 milionów marek. Przyczem cyfry nasze są raczej nizkie. Czy można znaleźć środki dla zapobieżenia tym „fałszywym kosztom“, jakie ponosimy przy gospodarce wielkokapitalistycznej bez zmian zasadniczych tejże gospodarki? Próby robione z sądami rozjemczemi wydały rezultaty pomyślniejsze tylko w Szwajcaryi, kiedy ludność przywykła do parlamentaryzmu i jak najszerszego samorządu. W Niemczech spodziewano się wiele w tym kierunku po instytucyi sądów przemysłowych (Gewerbegerichte); nadzieje te jednakże zawiodły, jakkolwiek w sporach pomiędzy oddzielnym robotnikiem i przedsiębiorcą te sądy złożone z robotników i przedsiębiorców, ferujące wyroki szybko i ze znajomością rzeczy bardzo pomyślne wydały rezultaty. W Anglii i we Francyi są w użyciu sądy polubowne, w których przyjmują udział urzędy. Jednakże ogólną jest skarga. że przedsiębiorcy rzadko zgadzają się na taki sąd. Słowem na dziś nie widzimy możności okiełznania tej walki zaciętej, gdzie właściwie nie o sprawiedliwość chodzi, lecz o potęgę.

J. B. M.



SYLWETKI SZLĄSKIE.

II.

Adam Napieralski.

Odwiedziny Górnoszlązaków w Poznaniu wzbudziły w szerszych kołach społeczeństwa naszego większe zainteresowanie dla tej przez tyle wieków zapomnianej polskiej dzielnicy. Żywem odbiciem zainteresowania tego jest nasza prasa codzienna, która z godną uznania skwapliwością notuje teraz wszelkie ważniejsze objawy i wypadki z ruchu polskiego na Szląsku lub też powtarza głosy polskiej prasy tamtejszej. Zwrot to bardzo pomyślny, oby tylko, jak tyle innych pomyślnych u nas ewolucyi, — nie utonął zbyt rychło w obojętności i kwietyźmie społeczeństwa naszego. Trudno! im większy i groźniejszy nacisk ze strony przeciwnej, tem cięższy spada na nas obowiązek mnożenia siły odpornej. A czyż mamy jej już tyle, że obyć się możemy bez pomocy, bez współudziału miliona przeszło wiernego polskiego ludu? Kwestya szląska dojrzała dziś już do tego stopnia, że rozwiązanie jej musi z konieczności rzeczy nastąpić rychło, jeżeli chcemy uniknąć przykrych i bolesnych strat w przyszłości. To też czas najwyższy poświęcić jej najbaczniejszą uwagę. Społeczeństwo wielkopolskie, jako najbliższe Szląska z całej dawnej Polski ma święty obowiązek przygarnąć Szlązaków do siebie. Krok pierwszy już uczyniony, — obyśmy z dalszemi nie zwlekali zbyt długo. Obowiązkiem prasy jest zaś szerzyć i umacniać to rozbudzone zainteresowanie dla Szląska coraz bardziej, a przedewszystkiem zapoznawać społeczeństwo wielkopolskie z stósunkami, panującemi na Szląsku. Nie dosyć atoli poznać stosunki bratniej dzielnicy, — trzeba poznać i wybitniejszych ludzi tamże działających, bo i to do nawiązania bliższych stosunków koniecznie jest potrzebne. Z szczerą też chęcią stosujemy się do życzenia Szan. Redakcyi „Przeglądu“ i w dalszych sylwetkach zapoznamy Czytelników z przywódzcami i obrońcami ludu polskiego na Szląsku.

— Pokażę wam, że wypłynę — mówi Własow, kończąc list i składając go ostrożnie w kopertę — choćbym nie wiem jak miał pracować, będę tęgim lekarzem i dobrym człowiekiem, a może sławnym.

Przeląkł się swojej zarozumiałości i przerwał wątek myśli. Podniósł się w łóżku i zaczął przypatrywać się swej silnej dłoni i różowym paznogciom. Potem potarł rękoma policzki. Przyjemnie mu było czuć się silnym i zdrowym. Wyprężył muszkuły prawego ramienia i obmacał je.

— Ujdzie. dla mnie starczy, — pomyślał pełen zadowolenia, naciskając lewą dłonią na wypukły i twardy jak kamień muszkuł, — nie potrzebuję silniejszych.

— Wasylu Wasilewiczu, Wasiu! — wrzasnął nagle pełną piersią i odrzucił nogami kołdrę, aż daleko odleciała: Wstawajże, czas! Długi Iwański przewrócił się w łóżku, aż zatrzeszczało pod jego ciężarem. Powoli wydobył rękę muskularną, kosmatą z pod płaszcza, a zwracając się do Własowa, otworzył leniwo zaspane oczy. Duże jego oblicze z kozią bródką, długim nosem i w dół opuszczającemi się kątami ust przybrało więcej niż zwykle wyraz rozczarowania i zadumy.

— Czego sobie życzysz? — zapytał niechętnie ochrypłym basowym głosem. — Czego wrzeszczysz jak opętany?

— Wstawaj, braciszku, wstawaj, — odpowiada Własow śmiejąc się. — Wiesz przecież: dzisiaj galówka: święto Tatjany!

— Cóż mnie to obchodzi, — mruczy Iwański, — do dyabła! jak tu zimno! Przymknął oczy chcąc usnąć. Przekonał się jednak, że już był wyspany, odchrząknął głośno i podniósł się na łóżku, poduszkę podsuwając pod plecy.

— Bądź tak łaskaw kochanku — odzywa się uprzejmie do Własowa, — podaj mi moje papierosy, są tam na stole obok ciebie.

Iwański zapala papierosa i zaciąga się silnie, potem spogląda na Własowa, mówiąc:

— Więc to dzisiaj Tatjany, — przecież doczekałeś się tego dnia. Co?

— Tak — odpowiada Własow.

— Bardzo zajmujący dzień, bardzo, braciszku — mówi Iwański, łypiąc oczyma i gładząc obydwoma rękami swoją długą brodę — doznasz w nim rozmaitych wrażeń. Przedewszystkiem równość ogólna panuje, a to najładniejsze.

Chwilę Iwański milczał. Potem namyślił się i ciągnął dalej:

— Wieczorem zazwyczaj bywa wesoło poza miastem. Tam każdy pokazuje się, jak go Bóg stworzył, szczerze, otwarcie, a co za ochota do mówek, pysznie! Pamiętam, jak w przeszłym roku Sewako — wiesz przecież, ten sławny Sewako — stanął na galeryi wodotrysku i palił do studentów mówkę. Pali, pali, naraz bęc, leży w wodzie pomiędzy pstrągami; znakomicie. Jakiś kolega wyłowił go ztamtąd, inaczej byłby biedak utonął, gdyż ledwo stał na nogach. Postraszył wszystkie ryby...

Iwański mówił wolno, a chociaż się uśmiechał, na twarzy jego widniał stale wyraz tęsknej zadumy. Własow rozweselony przysłuchiwał się. Wiedział, że Iwański przesadza jak zawsze, lecz pozwolił mu opowiadać.

— Potem, gdy się wygramolił — mówi Iwański dalej — trząsł się, mokry jak mysz, usiadł przy stole i zewsząd przynoszono mu szampana. Wszyscy chcieli pomódz mu przebrać się, lecz on siedział milczący i apatyczny, patrzał na nas, naraz zaczął szlochać — okropne to było — żałowaliśmy go wszyscy.

Iwański spoważniał.

— Czy to wszystko prawda? — zapytał Własow mimowoli.

— Nie inaczej, braciszku — byłem temu obecny. Przykre wrażenie wyniosłem. No, nie zawsze się tak dzieje. Wiele tam dobrego w tem wszystkiem. Mianowicie swoboda... Wieczorem trzeba przejechać się na przedmieście, aby się temu przypatrzeć — dodał Iwański po małej przerwie. A ty? co dzisiaj zamierzasz uczynić?

— Postanowiłem — odpowiada Własow — po uroczystości ucztować na Moskiewskiej, lecz mało pić. Wieczorem pójdę do teatru, kupiłem już bilet, a potem spać.

— Tak, mówi krótko Iwański, zaciąga się z papierosa i milknie.

II.

Iwański był kilka lat starszy od Własowa i uczęszczał na uniwersytet dawniej niż on. Mieszkali razem, ponieważ pochodzili z jednego miasta, znali się od małych dzieci i razem uczęszczali do szkół. Wspólne mieszkanie mniej kosztowało i jakoś weselej im było.

Własowa rodzice cieszyli się, że mieszkał z Iwańskim, którego znali przynajmniej. Wprawdzie nie dowierzali mu bardzo, bo uważali go za lekkomyślnego i dosyć ograniczonego człowieka, nie obawiali się jednak, aby Iwański, który birbantkę lubił, mógł syna ich wywieść na złe drogi. Iwański przyrzekł im to przy-

W pierwszej sylwetce staraliśmy się skreślić o ile możności dokładny obraz osoby i działalności zacnego redaktora „Gazety Opolskiej“, dziś damy sylwetkę Adama Napieralskiego, naczelnego redaktora „Katolika“. A że w tym wypadku „Katolik“ nie jest dziełem redaktora ani jego prywatną własnością, lecz posiada tradycyą i istnieje w okolicznościach, z któremi redaktor liczyć się musi, przeto w zakres szkicu naszego wciągnąć musimy i charakterystykę pisma.

Co prawda, to korespondent „Przeglądu“, pan „Chim.“, część zadania tego zdjął nam już z głowy, ponieważ w ostatniej swej korespondencyi dosyć trafnie scharakteryzował „Katolika“, jakim jest dzisiaj. Niestety „Katolik“ zawsze był takim.

Pismo to założone zostało w r. 1867 przez Józefa Chociszewskiego w Chełmnie, w Prusach Zachodnich. W r. 1869 nabył je Karol Miarka, który, krótko przedtem złożył był redakcyą „Zwiastuna“, i przeniósł je na Górny Szląsk. Środków materyalnych dostarczył mu w tym celu ś. p. Mieczysław Łyskowski. Z początku zanosiło się na to, że „Katolik“ będzie pismem na wskroś polskiem, ale walka kulturna rozwiała te nadzieje. Miarka, walcząc bezustannie z niedoborem, oddał pismo na usługi niemieckiego centrum, a w zamian pobierał znaczne subwencye, mianowicie od ekskanonika ks. Franza i hr. Ballestrema, a nadto doznawał poparcia ze strony całego duchowieństwa. Dzięki poparciu temu „Katolik“ rozszerzył się po całym Górnym Szląsku, ale stał się po polsku drukowanem pismem centrowem; spraw polskich dotykał tylko o tyle, o ile na to pozwalały zasady stronnictwa centrum. W roku 1880 nabył go od zawikłanego w procesa Miarki ks. Radziejewski, o ile nam wiadomo za 6 czy 7 tysięcy marek. (Pismo liczyło już wówczas siedm tysięcy abonentów.) Ale i nowy właściciel nie zmienił tendencyi pisma, chyba o tyle, że większy nacisk kładł odtąd na sprawy socyalne. Dopóki ks. Radziejewski redagował „Katolika“, odznaczał on się przynajmniej czystością języka polskiego, ale gdy ks. biskupowi Koppowi powiodło się ks. Radziejewskiego ze Szląska usunąć, gdy redakcya dostała się w ręce młodych kleryków szląskich, jak Hytrek i Duszela, którzy sami należycie językiem polskim nie władali, i ta zaleta „Katolika“ zupełnie zaprzepaszczoną została. Mimo to, — ponieważ nie było konkurencyi niebezpieczniejszej, — „Katolik“ materyalnie stał bardzo dobrze, jednakże wpływ jego zaczął coraz bardziej upadać. Strawa, podawana przez „Katolika“, nie odpowiadała już inteligentniejszym kołom czytelników, — to też te właśnie koła powitały z wielką radością założone w owym czasie, — w r. 1889 — „Nowiny Raciborskie“.

W takiej chwili, — było to na początku wymienionego roku, — objął redakcyę „Katolika“, Adam Napieralski. Pochodzi on z Księstwa, lecz przez dłuższy czas pracował na Warmii, a później był redaktorem „Pielgrzyma“ w Pelplinie. Nowy redaktor, człowiek młody, zdolny i bystry, objął jednym rzutem oka całą sytuacyę i nietylko zapobiegł możliwemu przy dalszej niedołężnej redakcyi upadkowi pisma, ale podniósł je do niebywałego w dziejach polskiej prasy ludowej rozwoju. „Katolik“ liczy dziś przeszło 15 tysięcy abonentów i wywiera decydujący wpływ na wszystkie sprawy szląskie, stał się jednem słowem potęgą, z którą liczyć się muszą wszyscy.

Niestety, nie możemy powiedzieć, iżby wpływ ten był pod każdym względem dodatni. „Katolik“ dziś jeszcze stoi zupełnie na gruncie centrowym i sam się uważa za polskie pismo centrowe. O ile to jest wynikiem osobistych zapatrywań wydawców, ks. Radziejewskiego i siostry jego, panny Radziejewskiej, a o ile redaktora, trudno dociec na razie. Zdaje się jednakże, że co do tego panuje między wydawcami a redaktorem najzupełniejsza jednomyślność. Adam Napieralski należy do tych polityków, którzy za mało wiary mają w własne i ludu siły i obawiają się wszelkiego, choćby najmniejszego ryzyka. To też jest on przeciwnikiem otwartej akcyi stanowczej i woli iść do celu układami lub krytemi manewrami, jakkolwiek krok za krokiem o ich bezskuteczności się przekonuje. W programie jego pierwsze miejsce po sprawach kościoła zajmują sprawy socyalne, a trzecie dopiero sprawa polska, którą też „Katolik“ traktuje nieraz zupełnie po macoszemu. Niedawne to jeszcze czasy, że „Katolik“ nie nazywał Szlązaków Polakami, tylko „Szlązakami polskiego języka“. A że dziś trochę śmielej i uczciwiej co do tego postępuje, to nie jego zasługa, tylko zasługa ludu, który go zmusił do przyznania mu narodowości polskiej. Smutne to, ale prawdziwe. Sprawy polskie traktuje „Katolik“ mimo to po dziś dzień przez rękawiczkę, — obawia się po prostu drażnić centrum. Inteligentniejsze żywioły ludu pragną iść naprzód; „Katolik“ zaś, mogąc dzięki swej materyalnej potędze i ogromnemu zastępowi abonentów od razu zmienić sytuacyę i jednym zamachem przeprowadzić emancypacyę ludu polskiego z pod panowania centrum, nietylko nie czyni tego, ale jeszcze psuje i tamuje pracę dwóch innych pism polskich, „Gazety Opolskiej“ i „Nowin Raciborskich“.

Z większą daleko otwartością i stanowczością Adam Napieralski, jak już to powiedzieliśmy, traktuje sprawy społeczne. Że dotychczas socyalna demokracya w tych stronach nie poczyniła znaczniejszych postępów, że mimo 100,000 robotników fabrycznych, pracujących w górnoszląskim okręgu przemysłowym, liczba głosów socyalistycznych przy wyborach dochodzi ledwie do kilkuset, to jego głównie dzieło. Aż do strejku w r. 1889 „Katolik“ sprawami robotniczemi mało się zajmował. Napieralski poznał od razu, że źle być może, jeźli robotnicy w walce z kapitałem od swych organów naprożno spodziewać się będą pomocy. Zaczął więc obok „Katolika“ wydawać socyalny organ dla robotników „Praca“, który liczy dziś do 7000 abonentów i jest znakomicie redagowany. O ile w sprawie polskiej Napieralski nie idzie dalej, jak na to program centrowy pozwala, o tyle w sprawie socyalnej i robotniczej licytuje formalnie o lepsze z socyalistami, zaakceptowawszy znaczną część ich postulatów, jak n. p. ośmiogodzinną dniówkę i jak najrozleglejszy samorząd w instytucyach dla dobra robotników założonych. Licytacya ta rozciąga się atoli także na pieprzne przycinki i wymyślania na chlebodawców i rzeczywiście w oczach naszych powag konserwatywnych, gdyby im przypadkowo jaki numer „Prasy“ dostać się miał do ręki — mówię przypadkowo, gdyż nie interesują się one Szląskiem wcale — „Praca“ posiadałaby wszelkie znamiona organu socyalno-demokratycznego. Sprawiła ona wprawdzie to, że robotnicy, mając własny taki organ, odpychają podawaną im za darmo „Gazetę robotniczą“. Czy atoli na długo jeszcze zdoła utrzymać wpływ dominujący, to rzecz inna, nawet wątpliwa. „Praca“ jest bądź co bądź pismem katolickiem, a jako takie ma pewne granice, poza które wyjść jej nie wolno, więc ostatecznie jednak przez „Gazetę robotniczą“ przelicytowana być może, która już w kokietowaniu czułych ma takie umizgi robotników, żadnemi niekrępowana jest względami. Rząd śledzi pilnie „Pracę“ i niejednokrotnie już spotykały ją z ław ministeryalnych zarzuty szerzenia socyalizmu. Takie samo stanowisko we wszystkich dziedzinach życia społecznego, mianowicie w sprawie agrarnej, zajmuje „Katolik“, chyba z tą różnicą, że w wyrażeniach więcej jest umiarkowanym.

Oprócz tych dwóch pism redaguje Napieralski jeszcze trzecie: beletrystyczne i ilustrowane pismo dla ludu „Światło“, bardziej polskie niż poprzednie, które atoli nie zdobyło sobie dotychczas wyrobić znaczniejszego zastępu czytelników.

Adam Napieralski jest istotnie zdolnym pisarzem ludowym. Posiada on mianowicie nadzwyczajną łatwość popularyzowania zawiłych kwestyi prawnych i w dzisiejszych czasach prawodawstwa dla robotników jest jakby stworzony na redaktora pisma robotniczego.

Położył on także niemałe zasługi na polu pracy organicznej. Założył wraz z Korfanty... Koraszewskim ów wspomniany już w przeszłej sylwetce „Związek wzajemnej pomocy dla robotników“, dalej znaczną ilość parafialnych towarzystw robotniczych. Wychodząc z zasady, że emancypacya ludu nastąpić może tylko wtedy, jeżeli stworzy się silną podstawę materyalną, utworzył dalej towarzystwo kupców, którego celem jest wyswobodzenie mniejszych kupców („chrześciańskich“ — nie polskich), z pod przewagi żydowskich grosistów, wreszcie bank pożyczkowy. Ale wszystkie te towarzystwa nie prosperują tak, jakby prosperować powinny, bo nie mają one wybitnego charakteru polskiego, i dla tego między ludnością polską, dla której są przeznaczone, nie mogą zdobyć sobie należytego poparcia. Nie przeczymy, iż takie przedsiębiorstwa opierać się muszą głównie na realnej podstawie, ale zdaniem naszem właśnie

---

wyjeździe do Moskwy, prosili go też, żeby synem się zaopiekował i w razie potrzeby był mu pomocnym. Iwański rzeczywiście zachował się wobec kolegi wzorowo, nawet czule. Troskał się o niego, a gdy spostrzegł smutek kolegi, pytał o przyczynę. Na pijatyki go nie wyprowadzał, przeciwnie, sam poprzestał włóczęgi po knajpach, pozbył się dawnych nałogów, prowadził się przyzwoicie przez całą jesień, siedział więcej w domu i czytał dużo. Raz jeden tylko przehulał całą noc, powrócił do domu zły i zgryziony; tem większą skruchę uczuł dnia następnego i przysiągł Własowowi, że więcej już pić nie będzie. Przeprosił go za wszystkie grubiaństwa, któremi go bez powodu obrażał i od dnia tego jeszcze stał się poważniejszym.

Własow wcale pojąć nie mógł nagłej u niego zmiany. Nie przyszło mu nigdy na myśl, że to jego był wpływ. Wiedział, że Iwański u wszystkich kolegów z dawniejszych lat uchodził za szalonego hulakę, a teraz zupełnie się zmienił. Własow ucieszony był zmianą i przywiązał się jeszcze więcej do Iwańskiego. Spędzali czas bardzo pożytecznie. Iwański pracował pilnie i czytywał dużo, Własow bywał na prelekcyach i przesiadywał całemi godzinami w bibliotekach i anatomicznych muzeach. W domu nad niejednem dysputowali, przypominali sobie życie w S. i zabawiali się przy samowarze; Iwański wypijał go do ostatniej kropelki. A jednak nierówny był ich do siebie stosunek; wypływało to z nierównego wieku i z różnic charakteru. Iwański był zamknięty w sobie, niechętnie mówił o sobie i był wogóle małomówny. Własow zato był otwarty i nic milszego nie było dla niego, jak wynurzać się przed przyjacielem. Iwański miał 25 lat, Własow 18. Iwański był człowiekiem zupełnie dorosłym, który dużo przeżył i wszystkiego użył, wyglądał też nad swój wiek; Własow przy nim wydawał się młodzieniaszkiem. Iwański od dawna znał kobiety i przesycił się niemi, jak sam przyznawał. Własow wystrzegał się nawet myśli o nich i omijał wszelkie sposobności do pokusy, dla tego nie odwiedzał wcale kolegów, którzy mu byli podejrzani w tym względzie i unikał pijatyk.

Było mu z tem dobrze, życie wydawało mu się wesołe, obawiał się zepsuć piękny ten nastrój. Gdy go zmysłowe chęci opanowały, przytłumiał je, starając się myśl zwrócić na inny przedmiot. Dotąd udawało mu się to z łatwością.

Iwański leżał dalej w łóżku, paląc papierosa. Myślał o Własowie i o czasach, w których w wieku jego chodził do gimnazyum. On wtenczas także był jeszcze niewinny i żal mu było tych lat.

Co się z nim stało w ciągu lat ostatnich! Co za bajeczna różnica. Wesołość i swoboda zaginęły. Przed nim otwierała się drogą życia ciemna, nudna. Karyera jurysty, życie monotonne, bez widoków polepszenia; Iwański posmutniał, kąty ust obwisły mu jeszcze więcej:

— Na cóż ja to wszystko czytam od rana do wieczora? — pomyślał, rzucając niechętne spojrzenia na książki przed nim leżące, — kuję, jak to zwykle mówią, uczę się na pamięć; na co to? Smutno!

Iwański pomyślał o zeszłorocznej uroczystości Tatjany.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

w stosunkach takich, jakie panują na Górnym Szląsku, niebyłoby zgubnem, gdyby nadano im otwarcie trochę idealniejszy kierunek i cel. Zanim z tak niewyraźnych pod względem narodowym instytucyi zejdzie dla ludu górnoszląskiego słońce zbawienia, łatwo rosa germanizacyi oczy wyjeść może.

Bardzo też niewyraźne stanowisko zajął Adam Napieralski w sprawie założenia Tow. Pomocy Naukowej. Ulegał on zanadto wpływom księdza Engla, — który pod względem narodowym, jak się okazało, wcale na takie zaufanie nie zasłużył – i za jego radą stworzył zamiast zamierzonego „Towarzystwa Pomocy Naukowej“, jakiś komitet, o którego działalności publiczność nic zgoła nie wie. Prawdą jest, że za jego radą właścicielka „Katolika“ dała na Pomoc Naukową 10,000 marek i on sam zasilał fundusze komitetu znacznemi jak na swe dochody datkami, — cóż, kiedy ta pomoc jest właśnie tylko środkiem reklamy dla „Katolika“, gdyż tylko synowie czytelników „Katolika“ uwzględniani bywają. Niewyraźne stanowisko, jakie Napieralski zajął w tej sprawie, ten wydało skutek, że w Raciborzu założono inne Towarzystwo Pomocy Naukowej, które atoli zwalczane przez „Katolika“ z niewiadomych, zdaje się czysto osobistych powodów, także należycie rozwinąć się nie może. W ten sposób ważna ta sprawa sprowadzoną została na wręcz fałszywe tory i długo pewnie jeszcze pod skutkami scysyi wytworzonej laborować będzie.

Jakkolwiek, mimo nadwątlonego zdrowia Adam Napieralski rozporządza znaczną siłą pracy, jakkolwiek siłę tę zużywa sumiennie dla spraw publicznych, jakkolwiek nie braknie mu przenikliwości i energii, nie cieszy się on taką popularnością, jaką posiada Koraszewski, ani też takiemi wpływami osobistemi. Braknie mu ot tego zapału, jakim odznacza się Koraszewski, a który porywa i entuzyazmuje. A właśnie w zmateryalizowanem na wskróś społeczeństwie polskiem na Górnym Szląsku potrzebną jest dla normalnego rozwoju spora doza idealizmu. Zawsze chłodny, rozważny kunktator prawdziwy, może Napieralski być dobrym obrońcą ludu, ale nigdy nie przywódzcą. Ufa on jeszcze zanadto duchowieństwu szląskiemu i stronnictwu centrum, i dla pięknych oczu duchowieństwa tego tłumi niekiedy wręcz wszelkie idealniejsze narodowe porywy ludu. Tak n. p. był przeciwnym wycieczce do Poznania, tak n. p. dziś występuje przeciw wyborowi pana Huenego nietyle dla tego, że pan ten jest Niemcem, że Polakom należy się polski poseł, ale tylko ze względu na to, że to wielki pan, a więc ze względów czysto socyalnych. Czy polityka taka wyda dobre owoce, czy obrachunki p. Adama Napieralskiego nie zawiodą tak, jak zawiodły nadzieje ugodowców naszych, to najbliższa przyszłość pokaże. Oby tylko mylne te naszem zdaniem obrachunki, ludowi polskiemu na Szląsku zbyt wielkiej nie wyrządziły szkody.

?

Ciche tragedye nad Newą.

Petersburg w wrześniu

Statystyczne dane wykazują, że ze wszystkich głównych narodów europejskich, Rosyanie mają najsłabszy popęd do samobójstwa. Ponieważ pomiędzy narodowością rosyjską a religią prawosławną zachodzi współrzędność w szerokim zakresie, a więc najmniejszą równolegle ilość samobójstw śród prawosławnych, niektórzy prawowierni statystycy rosyjscy przypisują wpływowi religii. Inne przypuszczenie — wpływ warunków ekonomicznych, — nie było dotąd podtrzymywane na seryo przez żadnego z teoretyków. W charakterze ludu rosyjskiego, którego duszą zachwycają się takiej miary pisarze, jak Tołstoj i Dostojewski, uderzają dwie cechy: znaczna doza dobroduszności, której śladu nie znajdziesz w hardym chłopie niemieckim, doskonale obliczającym perspektywę przyszłych zysków, albo francuzkim, umiejącym leniwie marzyć o pewnym komforcie i samorodnej estetyce, lub wreszcie w robotniku angielskim, z ponurą energią domagającym się pewnej określonej „stopy życiowej“; oraz druga cecha — dziwna u prostego ludu filozofia życiowa, wyrażająca się w tem, że wszystkie interesy materyalne uważane są za „tryń-trawa“ (marne zielsko), a na pierwszy plan występują kwestye w istocie filozoficznej natury: „Po co żyjemy i co będzie z nami po śmierci?“ Tę ostatnią cechę ludu rosyjskiego doskonale podchwycił i uplastycznił w swoich gorzkich nowelach sympatyczny pisarz rosyjski, Czechow, należący do grupy „młodych“, nie bardzo obfitującej w prawdziwe talenty. Ta właściwie cecha sprawia, że dziś, gdy sekciarstwo na zachodzie odeszło już w daleką średniowieczną przeszłość, w niektórych okolicach Rosyi, na północy i na południu, władzom wypada wciąż jeszcze staczać z niemi uporczywe walki (por. nową sektę Tołstowców — duchoborców). Obie wspomniane cechy, dobroduszność i pewien nastrój filozoficzny, sprawiają, że prosty człowiek ruski umie godzić się niekiedy z nadzwyczajnym losem i nie łatwo podnosi na siebie rękę.

W sierpniu krzywa graficzna linia samobójstw, zaczyna skręcać w dół. W lipcu dosięga ona zawsze swojego kulminacyjnego punktu. Jeżeli zważyć, że ciepło lata pozwala ubogim przesypiać się pod dachem z obłoków bez narażenia życia, a tylko z narażeniem się na upomnienia nocnych stróżów i dozorców policyjnych, to względna wysokość linii samobójstw w tym miesiącu staje się zagadką. Próbował mi wyjaśnić ją jeden z domorosłych statystyków w ten sposób, że latem okna są otwarte, a woda w kanałach nie zamarznięta; zwłaszcza uważał za słuszną pierwszą przyczynę i zwracał moją uwagę na częste w ostatnich czasach wypadki rzucania się z okien ludzi bez środków do życia, dotkniętych alkoholizmem mężczyzn i pijanych miłością kobiet. „Napisałem w tej kwestyi — powiadał ogromny artykuł, który zrobił szalone wrażenie na jednym z tutejszych redaktorów: nie zgodził się ze mną na żadnym punkcie... Chcecie, przeczytam go zaraz“. Nie chciałem, bo właśnie przechodziliśmy Newskim prospektem, obok restauracyi, gdzie tegoż dnia o godzinie 5 rano znalazł własnowolną śmierć na bruku brat szwajcara jadłodajni, robotnik, nie mogący dostać pracy.

Doprawdy, nie pojmuję, jak człowiek, nawet zrozpaczony ostatecznie, może decydować się na ten najstraszniejszy rodzaj śmierci. Godzę się, że można skoczyć do kanału Fontanki, bo jej wody umieją otwierać i zamykać się miękko, jak ramiona kobiety, w wypadku danego porównania dosyć brudnej. Rozumiem, że można zażyć trucizny, bo daje się ona zjeść z lodami ananasowemi, lub wypić w winie szampańskiem. Pojmuję, że można się nawet powiesić, gdyż jest to tylko „zbyt szczelne zaciśnięcie halsztuka“ i ma się potem satysfakcyę pokazania języka światu jeszcze po śmierci. Nie znajduję nic strasznego w posłaniu sobie kulki w serce, gdyż dokonywa się tego momentalnem kiwnięciem palca na kurku. Ale przeraża mnie myśl o możliwości dotknięcia głową twardych kamieni, o podróży na tamten świat z ryzykiem stracenia nóg zamiast duszy i dostania się w poczet kalek, zamiast do orszaku cieniów elizejskich. Brak środków do życia, brak pracy — muszą być czemś strasznem, skoro powierzchnia brukowana kamieniami zamienia się w oczach nieszczęśliwych na trawnik róż i lilii śmierci...

Samobójstwo zaczyna być hardem. Nie chce już ono kryć się w domach prywatnych, a nawet i w pokoikach hotelowych, ani w głębinach wód na krańcu miasta. Coraz częściej wychodzi na ulicę, wyzywając szyderczo tych, co pragną żyć. Niedawno ktoś pozbawił się życia w katedrze kolońskiej, której stuletnie ściany jęknęły zgrozą od nieznanego huku wystrzału. Ktoś inny otruł się niedawno w ogólnej sali jednej z tutejszych restauracyi. Niejednokrotnie fale rzeki w samym środku miasta wynoszą na grzbiecie swoim martwe ciało. A oto najświeższy wypadek, z dnia 10 przeszłego miesiąca:

Na skwerze Michajłowskim, w pobliżu ławki na której siedzi staruszek o srebrnych włosach i czyta gazetę, bawią się dzieci. Naraz któreś z nich wszczyna krzyk: „staruszek się zastrzelił!“ Na ławce leży starzec z odchyloną głową; ze skroni sznurkiem koralowym spływa krew, oczy zamknięte trupio, usta rozwarte, bez oddechu, twarz śmiertelnie blada. Obok na ziemi leży rewolwer i numer gazety, poplamiony krwią. W kieszeniach prócz kilku bezwartościowych papierów — płótno, nie mówiące nic o nazwisku, i tylko trochę o powodach samobójstwa. Reporter „Gazety Petersburskiej“ kilkakrotnie robi nacisk, że pismem, które czytał staruszek, była „Gazeta Petersburska“ z dnia 9 sierpnia r. b. Czy to reklama dla zwiększenia liczby abonentów, dosyć ryzykowna, czy też wyjaśnienie przyczyny samobójstwa? Słyszałem, że sentymentalni młodzieńcy zabijali się po przeczytaniu „Cierpień Werthera“, najwidoczniej nie zdążywszy przeczytać „Epigramatów“ Goethego. Słyszałem, że egzaltowane panienki truły się po przeczytaniu „Kreutzerowej sonaty“. Słyszałem, że jakiś ambitny młodzieniec zastrzelił się po odczytaniu „Hamleta“, znajdując, że „Szekspir zabrał mu wszystkie tematy“ i nie doczekał się... „nowego kierunku w poezyi“, poczętego przez Wł. Stankiewicza i nazwanego przezeń „ekwilibryzmem“ (!) Ale żeby ktoś się zabijał przy czytaniu gazety, słyszę po raz pierwszy. Przerzuciłem umyślnie numer „Gazety Petersburskiej“ z d. 9 sierpnia r. b. i znalazłem w nim same powszednie wypadki: „zagadkowa śmierć“, „zuchwała kradzież“, „wypadek na przystani“, „pożar“, „zamach samobójczy“ i t. d. Ach, prawda, jest tam jeszcze wiadomość o usiłowaniu samobójstwa przy pomocy noża fińskiego na ulicy z braku środków do życia — fakt, który mógł podziałać chyba jako suggestya.

Zaczyna gryźć mię robak zwątpienia... Bo i dla czegożby gazety, codzienne dostarczycielki ze wszystkich krańców świata denerwujących wiadomości o „powszednich wypadkach“, nie miały wstrząsnąć grozą swoją słabego serca i zniechęcić do życia?! „Powszednie wypadki!“ — przerażającą jest właśnie ta „powszedniaˮ ich tragiczność! Bodaj czy nie ma racyi Balzak, utrzymujący, „że nic nie może walczyć z geniusz z pływającą na wierzchu gazet wiadomostką, iż wczoraj o 10-tej wieczorem kobieta, pozbawiona środków do życia, skoczyła z mostu do Sekwany“. „Wypadki?“ — ale czyż owa monotonia jednorodnych wypadków nie dowodzi, że są one przejawami stale działających, nieubłaganych praw, bądź społecznych, bądź naturalnych?!

Długoletni współpracownik „Birż. Wied.“ p. Liniew (pseud. Dalin) powziął oryginalną myśl. Zebrał w jedną całość mnóstwo ciekawych wypadków, zaszłych w kraju w ciągu ostatnich lat i ocalił je przed zapomnieniem, na które skazane jest nieomal wszystko, co się drukuje w gazetach. Ogłosił owe wypadki w książce, noszącej tytuł: „Nie-bajki“ (Nieskazki). Fakty, podane przez p. Dalina, podzielone są umiejętnie na kilka zasadniczych grup, pod nazwami: „Żony prawne“, „Dzieci zbyteczne i bezbronne“, „Z kroniki wiejskiej“ i t. p., i w tem uszeregowaniu nie przedstawiają się bynajmniej jako przypadkowe bąbelki na ciele społecznem, za które mogli je wziąć w swoim czasie czytelnicy gazet, ale jako uparcie powtarzające się objawy groźnych chorób społecznych, wiecznie odnawiające się rozgałęzienia natury rakowatej. Pan Dalin z całą abnegacyą zrzekł się własnej swojej fantazyi na rzecz tej, którą posiada kapryśna rzeczywistość, i trzeba przyznać, że utworami swemi mogłaby walczyć o pierwszeństwo z najsensacyjniejszemi pomysłami romansopisarzy francuskich. Autor „Nie-bajek“, a raczej sumienny ich zbieracz, dodaje do każdego wypadku ze swojej strony rozumowe i uczuciowe oświetlenie, które dowodzi, że głęboko wziął on do serca cierpienia dzieci i kobiet i poważnie zastanawia się nad wyleczeniem ran społecznych. Jego prosty i szczery sentymentalizm, oraz zwyczajny dobroduszny rozsądek przynoszą mu zaszczyt w epoca, w której sceptycyzm, zobojętnienie, paradoks

i dowcip zapanowały nad wszystkiem. Odkrycie owych dodatnich cech u p. Dalina było dla mnie tem bardziej niespodziewaną przyjemnością, że spotykając go w towarzystwie przed przeczytaniem książki, pod gęstym rozczochranym włosem nie mogłem dojrzeć jego istoty. Obecnie wybaczam jego dziką czuprynę za kulturalny stosunek do różnego rodzaju dziczyzny, której winowajców karzą sądy, mniemając, że już wszystko zrobiły, a p. Dalin słusznie woła: „A jakto? oni poszli do ciężkich robót... a my? a my? albo ż my wcale nie winni? albo ż dalej będziemy po tem wszystkiem szli żółwim krokiem na drodze do oświaty ludowej?“ okrzyk ten stosuje się do historyi złożenia ofiary ludzkiej na ołtarzu pogańskiego boga Kurbona w siole Staromultanach gub. wiackiej podczas tyfusu 1882 roku (por. opowiadanie: „Patagonia w Rosyi“). „To myśmy złożyli tę ofiarę“ — woła słusznie p. Dalin.

Daleko większą zgrozą przejmuje wszakże inne opowiadanie o „przypadkowem“ odkryciu w marcu r. 1894 męczennika-obłąkanego, przykutego przez 10 lat na łańcuchu na mocy rozporządzenia „sielskiego schodu“ we wsi Tiulgańskiej gminy Zagwoździńskiej, okręgu tobolskiego. Nieszczęśliwy, siedzący wiecznie z głową opartą na kolanach w dusznej i niskiej budzie, cały obrośnięty włosem, zapomniał mówić... Uwięziono go na łańcuchu bynajmniej nie przez okrucieństwo... tylko uboga włość nie miała środków na opłatę kosztów utrzymania obłąkańca w szpitalu...

W książce p. Dalin przesuwa się szereg schwyconych z natury (pomiędzy innemi w sali sądowej) typów żon, męczonych przez mężów, dzieci przez matki i t. d. W tej galeryi portretów uderza jedna z żon-chłopek, która po kilkoletniem znoszeniu najcięższych razów, pokryta ranami, zdobyła się na wniesienie do sądu prośby, aby „mąż mniej bił“. Nie brak w tej galeryi i dziewczynek, które są ofiarami kochanków matek, za łaskawem ich pośrednictwem. Mnóstwo dzieci, całe lata obijanych z wściekłością przez matki i macochy, zanim sąsiedzka litość wprowadzi sprawę na tor sądowy, dowodzi nie mniejszej cierpliwości sąsiadów, niż tych bezbronnych drobnych stworzeń, nad których dolą tak mocno biadał Dostojewski. Zajmujące są typy tych matek, które pan Dalin doradza nazywać raczej „rodzicielkami“. Porzuciwszy dzieci w kołysce i powędrowawszy w świat z kochankami, po szeregu lat zupełnej niepamięci, gdy dziecię ich wyrośnie już i wychowa się, a otrzyma po zmarłym ojcu spory spadek, domagają się one naraz, w imię „praw macierzyńskich“, przyznania im opieki nad dzieckiem. Szczęściem sądy coraz rzadziej uwzględniają prośby takich „matek“, czyhających na majątek dzieci. Coraz rzadziej także wysłuchiwane są żądania mężów, domagających się sprowadzenia do ich domu przez policyę żon, które uciekły przed tyranią, jakkolwiek odnośne artykuły prawa przemawiają dotąd na korzyść panów małżonków. Niepojętą jest cierpliwość jednej z przedstawionych przez pana Dalin żon, która co dzień po parę godzin nieruchomie klęczała w kącie na rozkaz męża, rzucającego kluczykami żelaznemi w głowę, aż nareszcie odciął ją toporem. Dziwną jest lękliwość innej, która skarżąc się przed sędzią pokoju, że mąż nie wydaje jej oddzielnego świadectwa na życie, zapytywała: a co będzie, gdy zabije? — na co sędzia odrzekł jej przekonywająco: będą sądzili! Niezmiernie ciekawym jest wypadek zabójstwa męża przez żonę na ulicy w Moskwie. Powodem nie była ani miłość, ani nienawiść, gdyż małżonkowie rozeszli się za obopólną zgodą w parę dni po ślubie, cicho, bez skandalu. Przyczyną morderstwa był... pasport. Kobieta zapragnęła zapracować samodzielnie na swoje życie, ale wszędzie żądano pasportu. Mąż nie chciał go dać nie przez niechęć, ale tak sobie... Po roku błądzenia z kąta w kąt, wypędzana zewsząd dla braku dokumentu, spotkała na ulicy tego człowieka, który w jednej nieopatrznej chwili zdobył nad nią prawo na całe życie i zażądała pasportu z rewolwerem w ręku. Małżonek się zaśmiał i — za chwilę padł nieżywy...

Jak widzi czytelnik, książka p. Dalina zawiera dużo dokumentów, wiele dowodów wieczystego okrucieństwa ludzi, nawet w obecnej „czułej“ epoce, wiele świadectw tej straszliwej „władzy mroków“, którą tak wymownie skreślił Tołstoj w swoim dramacie.

Leo Belmont.

NA WYŁOMIE.

(Cieszyn. — Podstęp niemiecki. — Otucha. — Festyny sedańskie. — Kościół a narodowość.)

Gdybym mógł złączyć wszystkie dzwony polskie w jednego olbrzyma z metalu, uderzyłbym w niego dzisiaj i rozniósł na skrzydłach tonów tryumf Cieszyna. Gdybym mógł uwić wieniec olbrzymi z pszenicznych kłosów, modraków błękitnych, tatrzańskich szarotek i róż płomienistych opasałbym niemi jak wstęgą tę nową twierdzę ducha polskiego, która powstaje w murach Cieszyna. I gdybym mógł czarodziejskim zaklęciem powołać cały naród do świętej pielgrzymki, wiódłbym go w bramy nowej świątyni narodowej, a w kolumny wrogów leciałby jak burza głos niewolników: „I jakąż dumą drży moja warga, że w tych płomieniach nie ginę“.

Dzień święta zbliża się dla nas. Tam gdzie od wieków starano się egzystencyą ludu polskiego i polskie serce zniweczyć, wyrasta z ziemi polskie gimnazyum, polskie ognisko języka i myśli narodowej. A tłumy wrogów patrzą zdziwione w błyszczące okna tej szkoły i powtarzają słowa pewnego kapitana floty, szturmującego napróżno okopy nieprzyjacielskie: „Nie pojmuję, co za ludzi oni mają. Cała wyspa stoi w płomieniach, wszystkie forty zamieniłem w gruzy, a jednak nie zdołałem wyprzeć wroga z jego stanowisk. Gdy zburzę jeden szaniec, on przez noc drugi usypie“.

A tem większą dumą wzbiera dusza narodu, że w tej walce zwycięzkiej, toczącej się między repolonizacyą zniemczonych dzielnic a żelaznemi kleszczami germanizmu lud polski napróżno wyciągał ręce do Wiednia, do swoich wybrańców i przedstawicieli w parlamencie. Lud błagał a oni milczeli, lud wołał o pomoc a oni dyplomatycznym uśmiechem na twarzy maskowali ambaras, gdy z austryackiej łupiny jądro polskie wychylić się miało. I odbywała się ta walka bez ciężkiej artyleryi Koła polskiego. Niemcy stawali do boju z puklerzem opieki rządowej, z podziemnemi minami swoich reprezentantów wiedeńskich, — my walczyliśmy sami, siłą zbiorowego patryotyzmu, szlachetnem bohaterstwem jednostek, którym nikt nie dał mandatu u r z ę d o w e j obrony szańców narodowych. I oto coraz rozgłośniej na szlązkiej ziemi brzmi hejnał tryumfu: Polskie gimnazyum zdobyte, polski sztandar zatknięty na murach Cieszyna! Chciałoby się rozśpiewać tę drugą Jenę i Austerlitz po najdalszych zakątkach ziemi Piastowskiej, bo większa ona niż ta, którą stworzył geniusz Napoleoński, bo nie jest arcydziełem mistrza-strategika i Janczarskiej odwagi wprawnych batalionów, lecz czynem zbiorowego patryotyzmu i niezmordowanej energii ludu polskiego, bo nie kąpie się ona w krwi, ruinach i zgliszczach, lecz jest pokojowem zwycięztwem w zapasach ducha narodowego, bo nie wieńczy wawrzynem zaborcy, lecz laurem stroi lud walczący o prawa swoje zdeptane.

I zdaje mi się, że to Austerlitz niemieckie nie będzie miało swego Waterloo i swego Sedanu; w tej samej chwili bowiem gdy wróg rozpoczął nowy szturm do polskiej fortecy i kopie miny pod ziemią, — składa polski patryotyzm coraz liczniejsze dowody czujności i energii swojej. Uchwaliła rada miejska Cieszyna obfite stypendya dla niemieckiego gimnazyum i drwiąc spoglądała na polską szkołę w nadziei, że ją w pustkowie zamieni. „Synowie ubogiego ludu polskiego pójdą tam, gdzie bezpłatnie wolno im czerpać z krynicy wiedzy, a biedne polskie gimnazyum świecić będzie próżnemi ławkami“, — tak mówiła dyplomacya niemiecka. Serce narodu jednak pocisku tego się nie lęka. Ono zbudowało gimnazyum, ono ułatwi i najbiedniejszej młodzieży przystęp do niego. Dziś już wre na galicyjskiej ziemi gorączkowa agitacya, by za niemieckim przykładem polską twierdzę w Cieszynie stypendyami uzbroić; dziś już roznoszą dzienniki wiadomość, że korporacye i jednostki tworzą dobroczynne fundacye, by niemi jak fortecznym wałem ognisko życia narodowego otoczyć. A chociaż słychać gdzieniegdzie głosy zwątpienia, że zgaśnie ten entuzyazm jak słomiany ogień, że chwilowe upojenie, chwilowa ekstaza narodowa otwiera wprawdzie upusty polskiej ofiarności, lecz nie dziś to jutro minie szał płomienny i nowe gimnazyum wieść będzie żywot suchotniczy, to puszczykowe wołania chmurą nie przesłaniają mi oczu. Wierzę w niespożytą siłę odrodzonego ludu szląskiego, wierzę, że gwardye narodu to ukochane dziecię cieszyńskie, tego pierworodnego syna, wzrastającego na ziemi budzącej się do nowego życia, karmić będą mlekiem dumnej i szczęśliwej matki. Przecież ten gmach szkólny zbudowany wśród fal niemieckiego potopu to nietylko Westalka myśli narodu, nietylko tarcz przeciw wrogom, lecz jakaś wielka otucha, żeśmy jeszcze tak nie skarłowacieli, i nie tak bez duszy, aby z rąk spętanych nie wykrzesać — czynu. Tak! Gimnazyum cieszyńskie to c z y n! Jest w tem słowie jakiś urok tajemniczy, jakiś prąd elektryczny, budzący ducha, hartujący wolę. Własnemi siłami zbudowaliśmy szaniec ojczyźnie i oto poczuliśmy się nietylko narodem, lecz organizmem twórczym, zdolnym do pracy, do zwycięztwa, do czynu!

A taka otucha, taki przypływ wiary i energii potrzebne nam dzisiaj więcej niż kiedykolwiek, — potrzebne mianowicie tu na ziemi wielkopolskiej, gdzie lęk, abdykacya i bezduszny kwietyzm idą po łanach ojczystych. Niesmak graniczący z wstrętem syczy mi w duszy, gdy wsłuchuję się uważnie w echa festynów sedańskich, płynące ku nam z prowincyi, gdy mi bezustannie wołają nad uchem dzienniki, że polskie cechy, polskie towarzystwa i całe szeregi obywateli huczały okrzykiem radosnym, powiewały chorągwiami i w lśniących płomieniach świec i lampionów kąpały okna swoje na jubileuszu pruskiego zwycięztwa. A wstręt mój i gniew rośnie bez końca, gdy na ulicach i w cukierniach spotyka się ludzi, którzy z uśmiechem fałszywej tolerancyi deklamują o względach i względzikach na burmistrzów, komisarzy i landratów, prawią o liczeniu się kupców i przemysłowców z niemieckimi odbiorcami, o ewentualnościach prześladowań rządowych i t. p. Ten strach, grasujący przeważnie po małych miasteczkach, cechuje doskonale nietylko naszą atmosferę przygnębienia, naszą elastyczność i nasze uśpienie, lecz i ten fatalny wpływ jednostronnych i wykrzywionych haseł pracy organicznej, szerzących kult fanatyczny dla złotego cielca i piętnujących mianem fabrykantów frazesu tych wszystkich, którzy rozniecić pragną płomienie dumy narodowej i wśród wszystkich dążeń i namiętności ludzkich ojczyźnie pierwsze zapewnić miejsce. Kupiec zapalający świeczkę sedańską jako przynętę dla niemieckich odbiorców, mieszczanin śpiewający „Die Wacht am Rhein“ dla zdobycia uścisku komisarskiej ręki, to znaki czasu i Baltazarowa przestroga.

— Lecz — mówią oni — Kościół nas powiódł na sedańskie gody. W świątyniach polskich brzmiało „Te Deum“ i kapłani z ambon głosili w zachwycie tryumf niemieckiego oręża. — Prawda! I znowu dźwięczą nam w uszach słowa organu duchowieństwa, że „na sprawy narodowe patrzeć należy jedynie przez pryzmat katolicki“, i znowu budzi się protest przeciw komendzie kościoła w życiu narodowem. Tej sprawie poświęcił „Orędownik“ znakomity artykuł w numerze piątkowym, a słowa jego, że trzeba zrobić rożdział stanowczy między Kościołem a ojczyzną, bo interesa ich posiadają nieraz rozbieżne dążenia, pragnąłbym złotemi literami wyryć na wszystkich rynkach i ulicach. Być może, że przeklną mnie za to znowu i ukamienują, — dobrze! lecz zanim uderzą, przypomnę im słowa jednego z publicystów warszawskich: „Między spalonymi na stosie

więcej było może przyjaciół Kościoła niż wrogów, ale tem grzeszyli, że jak Savonarola czuli i działali na własny rachunek".

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Czytelnie publiczne w Rosyi. „Now. Wrem." użala się, że w Rosyi daje się zbyt małe baczenie na rozwój czytelnictwa. Dość powiedzieć, że ilość bibliotek jest tu dwa razy mniejszą, niż ilość księgarń. Wszakże dobór książek i w istniejących już czytelniach pozostawia wiele do życzenia. P. Rubakin, który napisał gruntowne dziełko „o rosyjskiej czytającej publiczności", wytyka społeczeństwu słaby pociąg do czytania. Dowodzą tego cyfry: na 100 osób, należących do t. zw. uprzywilejowanej klasy, abonuje książki w bibliotece; w Jekaterynosławiu — około 6, w Chersoniu — 5, w Niżnim-Nowgorodzie — 10 itp. Wypada np., że w siedmiotysięcznym Astrachaniu z książek korzystało zaledwie 200 osób i to nie w ciągu całego roku. Najwięcej, najlepiej i z najumiejętniejszym doborem czytuje klasa uczących się. P. Rubakin, zwracając uwagę na ten fakt, wyraża żal, że władze szkolne niektórych gimnazyów wzbraniają wychowańcom abonować się w czytelniach. Odbija się też to na błahości treści ćwiczeń szkolnych. Jak garnie się młodzież do czytania tam, gdzie podobny zakaz nie istnieje, poucza wymowna cyfra: w petersburskich czytelniach bezpłatnych małoletni stanowią 62,5 proc. czytających. Z dziełka p. Rubakina wynotować należy następujące ciekawe fakty: trzecia część, a w niektórych miejscowościach aż połowa żądań odnosiła się do przekładów książek cudzoziemskich; najpoczytniejszym śród autorów, pisujących w obcych językach, jest Sienkiewicz; z pisarzy rosyjskich niezaprzeczenie najbardziej popularnym jest Lew Tołstoj. O faktach powyższych poucza dołączona do dziełka p. Rubakina sumiennie opracowana tablica statystyczna ilości wypożyczeń dzieł wszystkich autorów.

* * *

Fryderyk Nietzsche. Berliński korespondent „Kraju" podaje następujące szczegóły o życiu, literackiej spuściznie i wpływach „wielkiego immoralisty" Nietzschego:

„Filozof ten, propagator siły, był dumny ze swego pochodzenia polskiego i przybranej niemieckiej ojczyźnie szczerą okazywał pogardę. Szeregi wyznawców jego idei rosną z dniem każdym, literatura o nim liczy setki tomów; na uniwersytecie tutejszym rozpocznie z półroczem zimowem prof. Runze wykłady o jego filozofii i etyce. Sam Nietzsche, który niedawno ukończył 50 rok życia, przebywa jako nieuleczalnie chory na rozmiękczenie mózgu, u matki, wdowy po pastorze w Naumburgu i powoli dogorywa. Przejmującym ma być widok tej postaci, która także na tutejszej wystawie międzynarodowej sztuk pięknych, z portretu przemawia strasznym tragizmem. Zbiorowem wydaniem jego pism zajmuje się siostra, pani Foerster, która założyła archiwum Nietzsche'go, teraz przygotowuje już jego „Pisma pośmiertne" i w tych dniach wydała pierwszy tom jego biografii. Przedstawiony tam pochód jego życia do roku 1869, to jest do objęcia katedry uniwersyteckiej; sama praca, pisana po gawędziarsku, bardzo familijnie, zawiera sporo listów i dokumentów, rzucających ciekawe światło na psychologię jednej z najwybitniejszych indywidualności naszego czasu.

Ale i fantazyę poetów zajmuje Nietzsche; świeżo stał się bohaterem powieści Adolfa Wilbrandta, wydanej u Cotty w Stuttgarcie p. t. „Die Osterinsel". Bohater posiada sporo rysów z życia nieszczęsnego filozofa i daje dosyć ciekawy obraz jego teoryi. Dla ich urzeczywistnienia, to jest celem przeobrażenia współczesnego nam "człeka-małpy" w „nadczłowieka", w półboga, chce bohater, dr. Adler, zakupić lub zdobyć wyspę na oceanie Spokojnym i tam, w odosobnieniu od niwelacyjnego i ogłupiającego wpływu Niemiec, wśród wspaniałej natury, wielkich myśli i potężnej pracy, odpowiadając warunkom doboru, rozwinąć pokolenie bohaterów. Nie zdołał jednakże zamiaru dokonać; mózg ludzki za słaby, aby tak nowy skonstruować świat, nerwy za słabe, aby przenieść walkę z otoczeniem i konfliktami realnego życia. Bohater kończy — tak, jak Nietzsche".

* * *

Zamknięty przez cenzurę warszawską tygodnik polityczno-literacki „Głos" zaczyna znów wychodzić z dniem 1 października na dawnych warunkach. Sympatycznemu pismu życzymy z całego serca powodzenia.

* * *

Moralność wiejska. W niedawno wydanej książce p. t. „Sittlichkeit auf dem Lande" wykazuje pastor C. Wagner, iż życie obyczajowe na wsi niemieckiej znajduje się w coraz gorszym rozkładzie. Wzmagająca się nędza nie pozwala na zakładanie rodzin, zamyka mnóstwo osób w jednej izdebce, zmusza do szukania najprzewrotniejszych sposobów, któreby doprowadziły — jak we Francyi — do systemu dwojga dzieci. Dane, które autor przytacza, spostrzeżenia duchownych, cyfry urzędowe, rzucają iście straszne światło na formy, w jakie przechodzi współczesna rodzina niemiecka.

* * *

Słownik polski. Wyszedł w tych dniach w Warszawie arkusz próbny „Słownika języka polskiego", ułożonego pod redakcyą pp. Karłowicza, Kryńskiego, Niedźwiedzkiego i J. Przyborowskiego. Sądząc z przedmowy i arkusza próbnego, spodziewać się należy, iż słownik będzie. w całem tego słowa znaczeniu, dziełem poważnem i pożytecznem. Materyał, opracowany starannie i o wiele bogatszy niż w słownikach poprzednich, wypełni cztery duże tomy.

KRONIKA POWSZECHNA.

* Nowa część świata. Ktoby się mógł spodziewać, że frazesu „odkryć Amerykę" wypadnie nam użyć nie w przenośnem, lecz dosłownem znaczeniu? Ktoby przypuszczał, że usłyszymy Kolumba, dzielącego się wiadomością o odkryciu nowego, nieznanego lądu, nowej zupełnie części świata, dwakroć większej od Europy! A przecież to samo, co się zdarzyło przed 400 laty, gdy wielki Genueńczyk obwieścił fakt odkrycia ziemi w kraju zachodzącego słońca, ziemi, położonej gdzieś na krańcu świata i obfitującej w złoto i inne bogactwa naturalne — to samo dzieje się teraz! „Odkrycia Ameryki" — o ile się to tylko naprawdę stało — dokonał teraz Norweg Borggrewing, który zakomunikował wiadomość o swem odkryciu na posiedzeniu międzynarodowego kongresu geograficznego w Londynie. Wiadomo, że sławę odkrycia Ameryki usiłowali odebrać Kolumbowi Norwegowie, dowodząc, że już przed Kolumbem przybyli do lądu stałego Ameryki północnej odważni Wikingowie. Tym razem może chwała odkrycia szóstej części świata dostanie się istotnie Norwegom, o ile tylko ląd przez nich odkryty nie okaże się jednym z tych lodowych „lądów" południowych, jakich odkrywano już mnóstwo w stuleciu bieżącem.

Na posiedzeniu międzynarodowego kongresu geograficznego oznajmił Borggrewing, że odkrył nowy południowo-biegunowy ląd stały, który zajmuje obszar dwa razy większy od Europy i obfituje w roślinność i bogactwa mineralne, dla eksploatacyi zupełnie dostępne: znajdują się też na tym lądzie olbrzymie zapasy guana. Borggrewing pragnie w lecie roku przyszłego stanąć na czele ekspedycyi do nowych lądów i pozostać tam przez zimę. Obiega pogłoska, że lord Salisbury zamierza dostarczyć funduszów na koszta wyprawy, a to w tym celu, aby Wielka Brytania mogła wejść w posiadanie nowego lądu. Opowieść Norwega o wszystkich tych skarbach obudziła wrodzony Brytańczykom zaborczy apetyt, to też lord Salisbury zamierza wydać z rządowej kasy brytańskiej fundusze, niezbędne do wyekwipowania na wiosnę wyprawy, na której czele stanie Norweg Borggrewing, i której polecone będzie zatknięcie sztandaru brytańskiego na lądzie szóstej części świata.

* * *

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Socyalistyczne czasopismo „Vorwärts" ogłosiło szereg ciekawych dokumentów, kompromitujących stronnictwo konserwatywne i wybitne osobistości dyplomatyczne. — Katolicka „Schles. Volkszeitung' wystąpiła nader ostro przeciw kandydatom ludu polskiego na Szląsku i wzywa całą prasę centrową, aby walczyła energicznie z „polskiemi uroszczeniami" i „polską agitacyą", której sztab, zdaniem jej, znajduje się w Poznaniu. (?!) — „Schles. Zeitung" radzi rządowi pozostawić zupełną swobodę policyi w szykanowaniu socyalistów a mianowicie ich przywódzców. — Śledztwo w sprawie morderstwa, popełnionego na Stambułowie, nie postępuje wcale. Zdaje się, że władze bułgarskie chcą tendencyjnie sprawę zabagnić i w tym celu pozwoliły umknąć z więzienia jedynemu zbrodniarzowi, którego ująć zdołano.

* **Teatr i muzyka.** Dawni artyści trupy poznańskiej, p. Wróblewska i p. Sosnowski, odwiedzili Poznań, aby uporządkować sprawy prywatne i za dni kilka przenieść się na stały pobyt do Łodzi. Dyrekcya wytęża wszystkie siły, aby zataić rzeczywiste powody ustąpienia pierwszorzędnych sił z teatru naszego i jako jedyny motyw przytacza wygórowane pretensye materyalne artystów. Wobec tego oświadczamy, że w dymisyi p. Rapackiego i panny Zimajer gaża nie odgrywała żadnej roli, że artyści ci prosili o przyjęcie, lecz odpowiedziano im krótko, że zgłoszenia ich nadeszły zapóźno. A było to w początkach lipca! Podobnie i prośba p. Wróblewskiej oraz p. Sosnowskiego o podwyższenie pensyi były więcej jak skromne. Rzeczywistym powodem rozbicia jest w pierwszym rzędzie fakt, że dyrekcya uzurpuje sobie prawo komendy w letnich miesiącach, t. j. wtedy, gdy kontrakty zawarte już się ukończyły i artyści na własną rękę o chleb się starają. Dyrekcya pragnie zmusić wszystkich członków trupy poznańskiej do występowania na prowincyi, chociaż z końcem zimowego sezonu kończy się kontrakt, kończy się przynależność artystów do teatru naszego, kończy się panowanie dyrekcyi i każdy aktor staje się panem własnej woli. Wielu artystów chciałoby korzystać z letnich miesięcy, aby przez gościnne występy dać się poznać publiczności łódzkiej, warszawskiej, krakowskiej lub lwowskiej, — kto jednak wzbrania się jechać na prowincyę, ściąga na siebie gniew i szykany teatralnych kacyków. Tak i dziś się stało i to jest główny powód dymisyi — w kilku przynajmniej wypadkach. Drugim motywem jest tenor nowych kontraktów, zawierających mnóstwo przepisów, krępujących, elastycznych i nakładających niezwykłe ofiary artystom. — Pierwotny plan rozpoczęcia sezonu w teatrze poznańskim przedstawieniem „Mazepy" nie przyjdzie do skutku W miejsce dramatu Słowackiego ujrzymy „Grube ryby" Bałuckiego. — P. Siennicka powróciła z Warszawy na krakowską scenę. — Teatr krakowski rozpoczął swój sezon zimowy komedyą Bogusławskiego p. t. „Modne spazmy". Po przedstawieniach operowych jednak, urządzanych w letnich miesiącach, mało znęciło publiczności „słowo nieśpiewane". Potwierdziło się zatem zdanie jednego z krytyków warszawskich, że opera jest wrogiem dramatu i komedyi.

Zmarli:

* **Ludwik Tobler**. profesor filozofii przy uniwersytecie w Zurychu, zm. w końcu ubiegłego miesiąca.

* **Spartaco Vela**, wybitny malarz włoski, zm. w Ligornetto w końcu z. m.

Odpowiedzi Redakcyi.

St. A. w Wągrówcu. Jeżeli dostarczenie świadectwa nie było warunkiem, postawionym ze strony dyrekcyi, lecz gwarancyą, obiecaną przez Pana samego, — kwestya ta w pierwszym liście była niejasno określoną — to postaramy się w drodze interpelacyi na walnem zebraniu zbadać przyczyny, kierujące postępowaniem zarządu.

A. R. Jest to naśladowanie Kasprowicza, miejscami nadto niewolnicze, miejscami jednak zdradzające przebłyski talentu. Prosimy o więcej próbek.

Pr 1) Cierpliwości! Musimy wprzódy zasięgnąć informacyi. 2) Dzieło Tarnowskiego o Krasińskim jest zupełnie wyczerpane.

Mal. K. Zgadzamy się z szanowną Panią, że talent Kosiakiewicza i Rodziewiczówny rozwadnia się i blednie, ale życzenia Pani, aby poświęcić artykuł zanikaniu talentów naszych powieściowych na razie spełnić nie możemy; zachowamy sobie jednak ten temat w pamięci.

Iskra. Tak, pani, ale krytyk ten należy do owych pisarzy, którzy oparci na pewnych dogmacikach literackich, każde uchylenie od nich uważają za brak lub niedojrzałość talentu.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 38. Poznań, Niedziela 22. września 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Z początkiem przyszłego kwartału rozpoczniemy druk interesujących listów **Jerzego Brandesa** p. t. **„Dwór wiejski w Królestwie Polskiem"**. Są to wspomnienia któremi słynny Duńczyk po powrocie z Królestwa Polskiego dzielił się w roku ubiegłym z czytelnikami kopenhagskiego dziennika „Politiken". Artykuły te zawierające mnóstwo ciekawych poglądów na stosunki polsko-rosyjskie, wybitnych działaczów politycznych i życie obywatelstwa wiejskiego, zyskały rozgłos niezwykły i zwróciły uwagę Europy na położenie nasze w zaborze rosyjskim. Uzyskawszy od znakomitego autora wyłączne prawo przekładu ogłosimy szereg listów jego, lśniących blaskami wytwornego stylu i bystrych obserwacyi, a owianych serdeczną sympatyą dla polskiego narodu; publikacyi tej dokonamy w tem przekonaniu, że zainteresuje wszystkich czytelników głos obcego, bezstronnego i cieszącego się europejskim rozgłosem pisarza.

REDAKCYA.

Wybory
w okręgu pszczyńsko-rybnickim.

Odbyte w przeszły czwartek w Żorach wybory uzupełniające do sejmu pruskiego zakończyły się klęską kandydata ludowego a zwycięztwem narzuconego ludowi kandydata Niemca. Z urny wyborczej wyszedł zwycięsko rektor katowicki Latacz, otrzymawszy 364 głosów, podczas gdy na kandydata ludu polskiego, adwokata Radwańskiego z Pszczyny, głosowało tylko wyborców 40. Był jeszcze trzeci kandydat, kandydat wolnokonserwatywny, landrat powiatu pszczyńskiego i na tego nawet padło znacznie więcej głosów niż na kandydata polskiego.

Taki rezultat wyborów zasmucił społeczeństwo nasze, które, zwłaszcza po burzliwem zebraniu przedwyborczem w Żorach, prawie już na pewno spodziewało się zwycieztwa ludu. W oczach wszystkich nieobeznanych dokładnie z stosunkami górnoszląskiemi, jest to klęska, klęska bardzo ciężka, budząca sceptycyzm co do przyszłości i dalszych losów walki. Mniemanie takie utwierdza jeszcze wrzask tryumfalny prasy centrowej, która również poczytuje wynik wyborów w Żorach za dobry prognostyk dla stronnictwa swego. A jak bezczelnie prasa ta sprawę tę wyzyskuje! Przywódzców ludu, kandydata jego i ową garstkę dzielnych wiarusów, którzy mieli odwagę śmiało zadokumentować wolę społeczeństwa polskiego, organa centrum obrzucają jadem i błotem, oszczerstwami, podejrzeniami i karczemnemi obelgami, a niestety znalazło się pismo **polskie**, które oszczerstwa te bierze za dobrą monetę i również karci spotwarzonych biedaków za niepopełnione wybryki. Pismem tem jest ten sam „Kuryer Poznański", który niedawno temu z smutną odwagą twierdził, że także popiera sprawę ludu polskiego na Szląsku... Wierzy on atoli więcej rozpasanej zgrai szląskich piśmideł centrowych, niż trzem polskim uczciwym gazetom górnoszląskim, niż nawet pokrewnemu sobie duchem „Katolikowi". A trzeba wiedzieć, że postępowanie tychże piśmideł centrowych jest w tym wypadku tak ohydne, tak obrażające, że już to samo zdradza, iż słuszności nie ma po ich stronie. Czytając elukubracye szląskich organów centrowych o wyborach w Żorach, sądzićby można, że ma się w ręku pisma anarchistyczne, redagowane przez towarzyszy Ravachola, a nie przez partyę, opierającą się rzekomo na prawach Bożych i przykazaniach kościelnych i posługującej się szumnem hasłem: „Za wolność, prawdę i prawo!" Takie wystąpienie „Kuryera" musi naturalnie powiększyć jeszcze i tak już wielki zamęt pojęć o sprawie górnoszląskiej, musi wzbudzić nieufność i niewiarę w słuszność żądań ludu i w dojrzałość jego i dla tego obowiązkiem uczciwej prasy jest sprawę tę jak najlepiej wyświecić i przedstawić rzecz tak, jak się ma w rzeczywistości.

Otóż wynik wyborów w okręgu pszczyńsko-rybnickim, jakkolwiek na pozór tak niepomyślnie się przedstawia, jest klęską lecz uważanym być może poniekąd nawet za zwycięztwo, w każdym zaś razie jest objawem dodatnim i uprawniającym do nadziei. Powiaty pszczyński i rybnicki to okolica, która pod względem narodowym zupełnie dotychczas leżała odłogiem. Są to dwa największe powiaty górnoszląskie, liczące razem przeszło 37 kwadratowych mil i dwieście tysięcy mieszkańców. Wprawdzie ludność ich jest prawie wyłącznie polską, — żywioł polski dochodzi tu do 95 proc., — ale bardzo ubogą, zależną, zafukaną. W obu powiatach panują wielkie latyfondya — w powiecie pszczyńskim księcia pszczyńskiego, w powiecie rybnickim księcia raciborskiego. Dużo tu lasów pańskich, między któremi z trudnością i mozołem walczy na lichej piaszczystej roli uboga ludność polska. Są to tak zwane powiaty głodowe, bo ostatnia klęska głodowa i tyfusowa tu największe zrobiła spustoszenia. Wioski, cieszące się lepszemi warunkami bytu, na palcach policzyć można. Zwykle, gdzie bieda materyalna, tam i brak oświaty, a stosuje się ta reguła najzupełniej do obu powiatów. Gazety polskie rozchodzą się tu w stosunkowo niewielkiej liczbie egzemplarzy, a walki wyborcze, jakie rozbudziły ducha w innych powiatach, w tych powiatach nigdy nie miały miejsca. Lud ślepo szedł za wolą księży, — więc też kandydatura posła centrowego zawsze była bezpieczną i pewną. Lud polski czuł, że nieraz krzywda mu się dzieje, że nie wszystko idzie tak, jakby tego pragnął, ale nie miał dość odwagi wyemancypować się z pod wpływu niemieckich przewodników i tylko w korespondencyach do gazet polskich wypowiadał ciężkie swe żale.

Ostatnim posłem do sejmu z okręgu tego był ś. p. Tadeusz Conrad, właściciel wielkiego gospodarstwa chłopskiego, Niemiec, ale uczciwy, mówiący wprawdzie licho po polsku, ale w stosunkach z wyborcami swymi chętnie się językiem tym posługujący, a przytem demokrata szczery. On to od lat wielu dopominał się w sejmie pruskim o lepsze prawo, chroniące włościan od szkód, wyrządzanych im przez zwierzynę z lasów pańskich. Jest to sprawa dla

włościan szląskich prawdziwie piekąca. Lasów tam znacznie więcej niż u nas, panowie szląscy dbają o zwierzynę i utrzymują jej mnogość wielką, a wyrządza ona na polach wiosek przytykających do lasów rokrocznie szkody ogromne, za które na mocy praw istniejących nie zawsze można uzyskać wynagrodzenie należyte. To też poseł Conrad, jakkolwiek zabiegi jego rozbiły się ostatecznie o spór stronnictw konserwatywnych i żywiołów konserwatywnych w własnem stronnictwie, zdobył sobie przez te zabiegi swoje między ludem wielką popularność. Był on zresztą i prasie polskiej i stronnictwu narodowemu do tyla sympatyczny, że nikt przeciwko wyborowi jego nie oponował. To też przy wyborach w r. 1893, kiedy śp. Conrada postawiono obok ks. Wolczyka na kandydata do sejmu w rzeczonych powiatach, wybór wyborców czyli „walmanów“ odbył się gładko i spokojnie. Prasa polska zatrudniona wyborami w innych okręgach nie mieszała się wcale do wyborów pszczyńsko-rybnickich, to też wybrano wszędzie „walmanów“ w myśl niemieckiego duchowieństwa: urzędników, nauczycieli, księży, dzierżawców proboszczowskich, kościelnych lub innych ludzi zależnych. Według istniejących przepisów dokonują wyboru uzupełniającego, w razie śmierci posła przed upływem kadencyi, ci sami walmani, których po raz pierwszy wybrano.

Jakże więc spodziewać się było można, że ci walmani, przeważnie bądź to Niemcy, bądź to zniemczeni obywatele lub też ludzie zależni, zapewnią zwycięstwo panu Radwańskiemu? Wprawdzie pewne koła liczyły raz jeszcze na to, że w duchowieństwie tamtejszem obudzi się wreszcie poczucie sprawiedliwości, i że duchowieństwo to uzna także, w myśl woli ludu, objawionej tak dobitnie na zebraniu w Żorach, kandydaturę p. Radwańskiego za lepszą od kandydatury Latacza, który niedawno temu oświadczył był w „Schles. Lehrer-Ztg.“ publicznie, że jest zwolennikiem powolnej germanizacyi. Tymczasem ta nadzieja zawiodła tak samo jak zawsze zawodziła dotychczas. Duchowieństwo tamtejsze nietylko, że życzenia ludu nie uwzględniło, lecz przeciwnie, zwalczało kandydaturę ludu najrozmaitszemi, a nie zawsze godziwemi środkami.

Opowiadano więc starym zwyczajem, że p. R a d w a ń s k i nie jest katolikiem lub bardzo lichym, że rząd, gdy p. L a t a c z przemówi do serca panu ministrowi, na pewno przywróci w szkołach język polski, a wreszcie nie cofano się nawet przed najniegodniejszemi kalumniami i represaliami.

Z drugiej znów strony czyniono bardzo mało, aby wyborców czyli walmanów pozyskać dla kandydatury p. Radwańskiego. „Katolik“, który w końcu co prawda stanął na wysokości zadania, z początku się wahał, ociągał, a gdy wreszcie uczciwie zabrał się do działania, już była pora spóźniona. Redaktor „Nowin“ przebywał jeszcze w więzieniu, a „Gazeta Opolska“ w tych właśnie okręgach ma najmniej wpływu, bo mały tylko zastęp czytelników.

Okoliczności były więc jak najtrudniejsze i jeśli mimo to, mimo brutalnego nacisku ze strony przeciwnej, nacisku, który posługiwał się nieraz kazalnicą i konfesyonałem, jednak znalazło się 40 mężów z ludu, którzy mieli odwagę zadokumentować otwarcie polskość swoją i wolę ludu, którzy nie wahali się rzucić rękawicy przemożnemu wrogowi, to objaw chyba b a r d z o d o d a t n i. Jest to pierwszy krok, uczyniony na drodze odrodzenia i walki o niezawisłość, — a krok wcale pewny i śmiały. Nie wątpimy, że przy zbliżających się wyborach do parlamentu lud pójdzie za przykładem tych 40 odważnych mężów, i że dowodnie przekona, iż niema powodu wątpić o jego poczuciu polskiem. Nie wątpimy dalej, że przy przyszłych prawyborach do sejmu wybierze takich walmanów, którzy mu nie narzucą posła niesympatycznego i raczej wrogiego. Szanse w powiatach tych są takie, że przy dobrej agitacyi lud śmiało zdobyć może większość mandatów wyborczych, a co najmniej zepchnąć centrum na stanowisko zależne, własnego zaś kandydata doprowadzić do wyborów ściślejszych.

Wątpić niema więc powodu. Z przebudzeniem się powiatów pszczyńskiego i rybnickiego dziś cały Szląsk stanął do walki o narodowe prawa swoje.

Rybniczanin.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

„G a z e t a G r u d z i ą d z k a“ zamieszcza w nr. 108 następującą wiadomość:

„Któż to z nas nie słyszał o banku HKT w Poznaniu, o owym „Landbanku“, założonym przez rycerzy znaku HKT, lecz mało kto pewnie przypuszczał, że bank ten stać się może drugą komisyą kolonizacyjną, a tymczasem — niestety tak jest!

Mamy wszelką pewność, że dość znaczna liczba obywateli ziemskich powitała wiadomość o założeniu owego banku z niemałem zadowoleniem, i że ów „L a n d b a n k j u ż p e w n ą m a l i c z b ę o f e r t o d c h c ą c y c h s i ę p o z b y ć s w y c h m a j ą t k ó w o b y w a t e l i p o l s k i c h!

Panowie ci rozumują, jak sobie spółka HKT tego życzy. Zdawałoby się, że się tych rozumowań wedle recepty spółki na pamięć nauczyli.

„Landbank, to p zecież instytucya prywatna i nie tak zła jak kolonizacya pruska“, powiada jeden, a drugi twierdzi z wielką zamaszystością, że „w takich sprawach narodowość nie może grać roli“.

Ślicznie!“

—

„G a z e t a G d a ń s k a“ tak charakteryzuje dolę redaktorów polskich czasopism ludowych:

„Redaktorzy pism naszych narażeni są na ciągłe procesa, które kosztują wielkie pieniądze. Myśmy już zapłacili kar i kosztów przeszło tysiąc marek — obecnie mamy dwa procesa nowe, które zapewne znów się zakończą grubą karą. Nieraz mrowie biednego redaktora przechodzi na myśl, zkąd przyjdzie wziąć pieniądze na karę i koszta. Praca nie idzie mu od ręki wśród ciągłych kłopotów i zaiste, gdyby gazeciarstwo nie było tak wzniosłą pracą dla idei i zagrożonych interesów biednego narodu polskiego, niejeden redaktor zwątpiłby o wszystkiem.

Od redaktora w naszych stosunkach wymaga się bardzo wiele — powinien on wszędzie być, wszystko wiedzieć, na wiecach i zebraniach przemawiać, pomagać w zakładaniu towarzystw. Ale to nie wszystko; redaktor nieraz robi i inne rzeczy, by pomódz biednym ludziom, którzy doń przychodzą z prośbami o pisanie prośb, zażaleń do władz, skarg i t. p. A takich spraw, które budzą litość z powodu krzywd wynikających z smutnego położenia naszego społeczeństwa — jest bez liku. Dzień też do pracy jest za krótki i trzeba noce zarywać, aby wszystkiemu podołać. Współpracownika bowiem dobrego trudno dostać, a choćby go się i dostało, nie ma go czem opłacić.

Jak redaktor nie ma za co jeździć, gdy ma płótno w kieszeni, wtedy mu to ludzie mają za złe, a nawet wierzyć nie chcą w to, aby redaktor nie miał mieć pieniędzy na koszta podróży. Posądzają go nieraz o złą wolę, ba odgrażają się, że jego gazety trzymać nie będą — a myśmy już odebrali nieraz listy obelżywe z wyzwiskami, w których redaktorowi grożono, że mu kości połamią. Takich kilka listów schowaliśmy sobie na wieczną rzeczy pamiątkę.

Boli to wszystko bardzo redaktora, któremu najniewinniej w świecie robią nieraz zarzuty i groźby. Gdyby jeszcze miał dostateczne dochody, byłoby pół biedy — aleć w naszych stosunkach takich szczęśliwców nie ma...

Cośmy tu napisali, nie jest wcale przesadą lecz prawdą. Prawdą też jest, iż jeżeli się stosunki u nas nie polepszą, nie ostoją się i te pisma polskie w Prusach Zachodnich, jakie obecnie wychodzą“.

—

Z rozumnego artykułu „O r ę d o w n i k a“ (nr. 210) o stosunku narodu do Kościoła cytujemy dla braku miejsca tylko ustęp następujący:

„W nadesłanych nam listach, mianowicie z Inowrocławia, poruszono także zachowanie się Władzy kościelnej względem obchodu Sedańskiego. Piszą nam: uderzacie tylko na lud, a nie uwzględniacie, że lud by

---

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

WANDA (*gorzko*).

Co pan znosisz we mnie?...

LEON (*smutnie*).

Pani mnie nie rozumiesz... Ja chciałbym panią uwielbiać, szanować... Lecz gdy pomyślę, że ty tego żądasz... że ty mnie do tego zmuszasz... (*gwałtownie*). Ha! jak ty mnie odurzasz.

(*Wanda wchodzi do sali i chodzi wzdłuż niej*).

LEON (*wchodzi za nią*).

Pani Wando!

WANDA (*obojętnie, chodząc*).

Słucham.

LEON (*stłumionym głosem*).

Obraziłem cię?

WANDA.

Powtarzam, że nie umiem się obrażać. Używaj więc pan.

LEON (*j. w.*)

Rózia ma słuszność... Obchodzę się z panią niegodnie.

WANDA.

Uwzględnia się niepoczytalnych.

LEON (*gwałtownie*).

Ja niepoczytalny?

WANDA.

Rzecz prosta, jeżeli nie panujesz nad sobą.

LEON (*j. w.*)

Jeżeli tak, to twoja wina! Dla czego mnie dręczysz?

WANDA.

W takim razie nielogicznem przepraszanie.

LEON (*j. w.*)

Logika! Mówię jak muszę!

WANDA (*ironicznie*).

Oddalasz się pan coraz więcej od swego ideału.

LEON (*porywczo*).

Co mnie on obchodzi?... Jestem, jakim muszę być!... I nie takim, jakim jestem w głębi, prawdziwie, lecz jakim pani mnie sztucznie stwarzasz!

WANDA.

Nie miałam i nie mam tej ambicyi. Zresztą jeżeli uważasz, że źle wpływam na ciebie, usuń się.

LEON (*gorzko*).

Gra twoja i dusza wszędzie mnie gonią. Przepadło! Usłyszałem raz, to dosyć, by pamiętać życie.

(*Wanda spogląda na niego*).

LEON (*z dziką radością*).

O, nie panią! Myślisz pani, że działasz na mnie jako kobieta? Mylisz się pocieszniechoć to łechce twą próżność.

WANDA (*szydersko*).

Ma się rozumieć, to zaszczyt tak wielki.

LEON (*szydersko*).

A jednak tak marna żądza spoczywa w duszach nawet takich jak ty kobiet i drga wszędzie, nawet w takich objawach, jak twa muzyka.

WANDA (*szybko zwraca się ku niemu, kładzie mu ręce na ramiona, patrzy w oczy przenikliwie i wzburzona mówi dobitnie*).

A chcesz wiedzieć, co drga w każdem twem słowie, zwróconem do mnie?...

LEON (*spuszcza wzrok, stłumionym głosem*).

Mów.

WANDA (*walczy z sobą*).

Nie, toby było zbyt podłe, brutalne... (*odrywa ręce i szybko się zwraca w stronę drzwi*).

LEON (*rzuca się za nią i przytrzymuje za rękę w otwartych drzwiach — gwałtownie*).

Mów!...

WANDA.

Puść mnie, jeżeli nie chcesz być upokorzonym!

zawezwany do kościołów, gdzie śpiewano „Te deum“ z powodu zwycięztwa wojsk niemieckich pod Sedanem etc. etc.

Oto mamy na talerzu wystawioną sprawę dotykalną, przy której potrzeba pewnej oświaty politycznej, żeby się w niej zoryentować.

Jest to jedna z tych spraw drażliwych i zawiłych, z jakiemi się w praktycznem życiu politycznem spotkać możemy.

Tu trzeba rozumieć i baczyć na to, że interesa Kościoła, albo ściślej mówiąc, interesa władzy kościelnej, nie zawsze zgadzają się z interesami narodowości polskiej.

Skutkiem tego w jednych sprawach Władza kościelna i nasze społeczeństwo świeckie muszą iść ręka w rękę, bo inaczej narażą się wzajemnie na straty. Są znów inne sprawy, przy których władza kościelna musi w pierwszej linii stróżować swych interesów kościelnych bez krępowania się względami na świeckie interesa narodowości. Świeckie społeczeństwo musi także w pewnych sytuacyach samo stróżować swych interesów narodowych — bez oglądania się i wyczekiwania za pomocą czy to Władzy kościelnej, czy duchowieństwa...

Byłoby to błędem politycznym z naszej strony, gdybyśmy skutkiem tego dwojakiego stanowiska Władzy kościelnej i społeczeństwa — do rządu pruskiego, mieli naruszać normalny stosunek naszego świeckiego społeczeństwa do Kościoła i duchowieństwa Atoli byłoby również politycznym błędem, gdybyśmy z takiej sytuacyi nie mieli wyciągnąć nauki dla siebie, że w pewnych położeniach nie należy się wcale oglądać na Władzę kościelną, tylko siebie patrzeć i tem więcej narodowych interesów pilnować, że w pewnych położeniach jest Kościół dla siebie i naród dla siebie.“

—

Pod tytułem „Nowe prądy germanizacyjne“ pisze „Gazeta Grudziądzka“ w nr. 109:

„Prawdziwy obłęd wściekłości przeciw żywiołowi polskiemu opanował na nowo niektórych Niemców. Z gorliwością godną lepszej sprawy suszą sobie mózgownice, wymyślając nowe sposoby, za pomocą których mogliby nas zdławić, zniszczyć, zdusić, zabić pod względem narodowym

Niejako na czele paraduje nasz wróg „Geselliger“. Do samego sejmu wdziera się jako gość nieproszony na swym szowinistycznym rumaku i radzi ukuć takie prawo, żeby każdy przed sądem zeznania swe robił po niemiecku. Jeżeli tego uczynić nie chce, choćby tylko trochę niemczyzny polizał, ma opłacać tłomacza...

Jeszcze dalej idzie w swej polakożerczości niejaki mądrala Richardi.

Ten dobrodziej udaje jakoby pobożną minkę i gani knowania, intrygi i nędzne machinacye Hakatystów jako rzeczy niemoralne, ale bez kropli wstydu żąda rzeczy tak strasznych, że braknie słów, aby napiętnować jego niecne plany...

I on domaga się ścisłego przeprowadzenia znajomości języka niemieckiego wśród polskiej ludności. W tym celu wprost potworną, w znaczeniu moralnem zbrodniczą daje radę, aby rząd wyznaczył prawem pewien termin, n. p. lat 20, w którymby to czasie wszyscy Polacy po niemiecku nauczyć się byli obowiązani. Kto wtedy jeszcze nie będzie w stanie gadać tym językiem, utraci wszelkie prawa obywatelskie, a więc nie będzie mógł sprawować żadnego, nawet najniższego urzędu, ani wybierać, ani być wybranym, a nawet nie wolno mu będzie prowadzić samodzielnie procederu, a więc na chleb zarabiać na polu przemysłu i handlu. Także otrzymają tacy ludzie opiekuna w sprawach sądowych. Zdawałoby się, że dość już tych pęt, aby zrobić z nas niewolników gorszych od biednych Murzynów. Ale to jeszcze nie wszystko. Pozostaje najbrzydsza reszta piekielnego pomysłu.

Nie ma być wolno wydawać polskich pism i gazet, a w kościele język polski musi zamilknąć na zawsze.

Chciałby więc ten wstecznik i prześladowca zakneblować nam usta, abyśmy ni skargi zawodzić, ni krzywdy swej dochodzić, ni praw swych domagać się nie mogli, ani chwalić Boga w języku, którego nauczyły nas matki.“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Białogrodzkiemu dziennikowi „Dnevni List“ donoszą z Macedonii, ze Soluna:

„Wiadomość o wykryciu i pojmaniu członków głównego komitetu rewolucyjnego bułgarskiego potwierdza się w zupełności.

„Policya turecka zarządziła znienacka rewizyą u profesora gimnazyum bułgarskiego Andrzeja Stojanowa, który jest równocześnie sekretarzem władyki bułgarskiego Synesyja; dalej u profesora Bojacijewa i Kusowa, u dyrektora gimnazyum Paskowa oraz znanych agitatorów bułgarskich Kumanowa, Sztipy i Koszanina. Przy tej sposobności policya wykryła pisma i broszury rewolucyjne, które obłożyła aresztem, a wszystkie wymienione wyżej osobistości uwięziono i oddano sądowi.

„Hasim pasza zwrócił się następnie z zapytaniem do władyki Synesyja, w jakim celu zostały wydane znaczne sumy bułgarskim nauczycielom, popom i agitatorom, dochodzące do wysokości 1,200,000 franków. Władyka mocno zaambarasowany nie wiedział co odpowiedzieć, a Hasim-pasza wręcz mu oświadczył, że go uważa za naczelnika buntu.

„Przeciw Synesyji wytoczył rząd na razie śledztwo; ale śledztwo to nie dotyczy sprawy powyższej, lecz morderstwa, którego miał się dopuścić władyka przed czteroma laty. Wynajęci przez niego mordercy mieli ubić nieprzyjaciela władyki, popa serbskiego Stojana Kyrsticza. Morderstwo to zostało popełnione w czasie, kiedy Synesyja był władyką w Oryli.

„Profesora Stojanowa obciąża i ta okoliczność, że utrzymywał stosunki z oddziałem „„dziada“ Kostoma, którego ubito, oraz że był oficerem bułgarskim.

„Te fakta świadczą, dokąd zmierza Bułgarya i odkąd sięgają nici sprzysiężenia, którego nikt nie pochwala. Rosyjskie i francuzkie konsulaty otrzymały od rządów swoich wskazówki, aby ludność przestrzegały przed propagandą bułgarską.

„Wobec tego niema wątpliwości, że oddziały powstańcze wkrótce zostaną zniszczone, bo się nie mogą mierzyć z wojskiem tureckiem“.

* * *

Wychodzący w Zagrzebiu „Srbobran“, organ główny Serbów węgierskich i chorwackich pisze o upadku moralnym społeczeństwa serbskiego w królestwie serbskiem:

„Gdy człek słyszy i widzi co się w dzisiejszem królestwie serbskiem dzieje, musi się z przerażeniem zapytać, czy to jest ten sam naród serbski, ci sami Serbowie, którzy dawniej byli. I niechcący przesunie się nam przed oczyma obraz Serbii wieków średnich, która miała również wielu nieprzyjaciół, równie niebezpiecznych, jakich dzisiaj posiada. Przyrównawszy starą Serbią z dzisiejszą uderzy go straszny kontrast, kontrast tak straszny, że mu krew w żyłach zamrozi.

„Zaiste jest to całkiem niezrozumiałem, jak dzisiejsi mężowie serbscy stanu mogą być do tyla krótkowidzącymi niepatryotycznemi, że się z historyi własnego kraju niczego nauczyć nie mogli. A są to właśnie ci mężowie, którzy w walce o wolność i niezawisłość Serbii tak dużo zdziałali.

„Stare królestwo serbskie wydaje się nam olbrzymem, któremu starczyło sił nadludzkich nieomal do poskromienia żywiołów mu wrogich. Było to centrum, około którego skupiała się Słowiańszczyzna południowa, a sława jego nie zginie w dalekiej przyszłości.

„Jak wygląda dzisiejsza nowożytna Serbia? Odkąd stała się królestwem idzie po torach dalekich od celu narodowego. Pierwszy król starego serbskiego królestwa Szczepan, już miał paść ofiarą zachodu i łaciny, ale brat jego, św. Lawa, w chwili decydującej nakłonił go do odrzucenia idei zachodnich i pozostania wiernym dawnym obyczajom i wierzeniom. To uczyniło Serbią wielkiem i potężnem państwem, tak że mało było wówczas królestw mogących się z nią mierzyć.

„A pierwszy król spółczesnej Serbii Milan? Odkąd z księcia został królem porzucił stare tory i oddał się duszą i ciałem najniebezpieczniejszym wrogom serbskiego ludu, Niemcom, a na kraj rodzinny sprowadza jedno nieszczęście za drugiem.

„Tak Serbia dzisiejsza żywi w własnym domu żmiję, która gdy do sił przyjdzie przegryzie Serbii żyłę ostatnią. Nie może to palić rumieńcem wstydu i żalu każdego Serba, gdy patrzy na to, co się w Serbii dzieje, kto w niej rządzi i jak to służy się idei serbskiej na Bałkanie?

„Dawniejsi nasi mocarze nie tak rządzili. Historya uczy nas, że nigdy cudzoziemstwo

---

LEON.

Chcę nim być! Upokarzaj!

WANDA (*gorzko*).

Brak mi odwagi na deptanie ludzi!

LEON.

Depcesz mnie ciągle, możesz i teraz! Mów! co?

WANDA.

Nie powiem. Wreszcie wiesz o tem lepiej odemnie.

LEON (*z rozpaczą*).

Nie wiem i to mnie najwięcej dręczy! Oświeć mnie! Miłość?

WANDA (*śmieje się z goryczą*).

Ha, ha!

LEON (*nagląco*).

Miłość?

WANDA.

Nie powiem.

LEON.

Trwoga przed tobą, przed twą grą?...

WANDA.

Będę milczeć, puść mnie.

LEON (*wstrząsa jej rękoma*).

Nienawiść dla twej potęgi?

(*Wanda milczy, nie wyrywa mu rąk tylko patrzy mu nakazująco w oczy*).

LEON (*rażony puszcza ręce; — z niewymowną goryczą*).

Przepraszam panią!

(*Drzwi zamykają się za Wandą; Leon trzymając się za głowę, szybko zbiega w głąb ogrodu*).

* * *

Pokój Wandy wieczorem; lampa zapalona, w głębi drzwi do sali na pół otwarte. Równolegle do stołu z lampą Wanda znużona w fotelu, z książką na kolanach, trzyma pochyloną głowę w dłoniach. Niekiedy podnosi twarz smutną, zadumaną, mówi niespokojnie.

WANDA (*podnosząc twarz*).

A gdyby on... a raczej ci wszyscy, których jest przedstawicielem, mieli słuszność? (*pochyla głowę — długie milczenie*) Znałam ludzi-Bogów i znałam ludzi-kretynów; pierwszych uwielbiałam, gardziłam drugimi... Bogowie nauczyli mnie myśleć, czuć. żyć inaczej od reszty... Kretyni nauczyli mnie gardzić tą resztą... czuć swą wyższość nad nimi... Nazywali się „ludźmi“ i wierząc, że są nimi, pomiatałam wszystkiem, co nie tchnęło bóstwem... (*milczenie*) Żyłam w świecie idealnym, patrzyłam na błoto; nie znałam ludzi, pracy, ni nędzy... Nędza kretynów nie wzruszała mnie; praca dla nich nie wydawała mi się obowiązkiem... Nie rozumiałam świata. I nagle świat ten wstrząsnął silnie memi ramionami, wołając: „jesteś wielka — czy podła?“ A ja nie znalazłam odpowiedzi — praca w imię nędzy i swobody, praca przez bunt życia wśród bezinteresownego, krwawego, codziennego trudu, któremu tylu poświęca swe ambicye i zdolności estetyczne, schwyciły mnie za kark i rzucają oskarżenie: „Nie uczyniłaś nic, choć powinnaś byłaś!... Jesteś świecidłem na ranach Łazarza i pysznisz się tem jak spełnieniem powinności... Obowiązki nałożone na każdego uczciwego i świadomego człowieka leżą dla ciebie odłogiem“... (*wyciąga ręce w rozterce*) Co ja mam robić, by je wypełniać?... (*gorzko*) Gra moja jest trucizną... a poza muzyką nic nie robię!... „przestań grać“! Tego świat żąda odemnie przez usta Leona... (*szyderczo*) Czy ten świat nie wyrzuca mi czasem siły mojej?... Czy jej może nie znosi i chęć zdruzgotania jej, zmarnowania, nie ubiera w szatę wszechpotężnych argumentów?... (*nowa fala wątpliwości*) A jednak, czy wolno dziś oddawać się sztuce, gdy tyle potrzeb jest niezaspokojonych, gdy ucisk i nędza wołają głosem wielkim o pomstę do dusz uczciwych... gdy najświętsze prawa człowieka depce ohydny potwór brutalnej, zwierzęcej siły?... Czy wolno oddać się twórczości — rozwojowi swej duszy i temu, co pośrednio tylko wpływać może na zmianę warunków, gdy tyle głodnych i świat cały niewolnikiem?... (*gwałtownie*) Lecz na cóż te wszystkie wysiłki tysięcy dusz prawych i szlachetnych, jakiż ich cel? Wszak tylko stworzenie stanu rzeczy, w którym człowiek używać będzie indywidualnej i społecznej swobody, w którym będzie mógł bujnie się rozwijać fizycznie, umysłowo i moralnie, w którym każda istota wyda z siebie, z minimum wysiłku, maximum odpowiedniej siły, w którym znajdzie się pole

w kraju naszym się nie panoszyło. Starzy Serbowie strzegli tak bacznie praw narodu, że na króla samego się rzucili, gdy spostrzegli, że poddaje się wpływom niemczyzny. Miejmy nadzieję, że duch narodu jeszcze nie zginął, że chwila nadejdzie wkrótce, w której zrzuci ze siebie jarzmo polityki cudzoziemskiej".

* * *

Wychodząca w Nowym Sadzie, w Sławonii, serbska „Zastawa" („Sztandar") pisze o stosunkach narodowościowych na Węgrzech:

„Uprzytomnijmy sobie, jaki w nas stan rzeczy obecnie! Okrągło jest mieszkańców wszystkich na Węgrzech piętnaście milionów, z tych jest pół miliona Serbów, więc stanowimy trzydziestą część liczby. Najczystszy i najprostszy jest rachunek, że jeden naprzeciw 30 nic nie zrobi. Nie mamy też nadziei, ażeby zkądkolwiek otrzymać pomoc materyalną lub moralną. Nie jestże więc jasnem jak słońce, że Serbowie nie powinni stać na uboczu, ale szukać sprzymierzeńców.

„Jeżeli rozważymy, że z owych 15 milionów ani sześciu milionów nie stanowią Madziarzy, (z tej liczby nie wyłączamy żydów i cyganów oraz Słowian zmadyaryzowanych) i że owe sześć milionów Madziarów rządzi całą monarchią i owemi dziewięciu milionami Niemadziarów, to znowu jasnem jak słońce, że my Serbowie powinniśmy w jednym z ostatniemi stanąć szeregu. Z tych dziewięciu milionów Niemadziarów najliczniejszymi są Rumuni, których jest okrągłe trzy miliony, po nich idą Słowacy z ludnością dwumilionową. Resztę stanowią Niemcy i Rusini.

„Serbowie oddawna, chociaż liczbą najmniejsi, odgrywali zawsze jednę z najgłówniejszych ról wśród narodowości niemadziarskich i to dzięki temu, że oświata i nauka znajdowały się w nich zawsze na wyższym stopniu.

Jeżeli dziś narodowości niemadziarskie występują zgodnie w obronie praw swoich, to pora najodpowiedniejsza nam Serbom przyłączyć się do nich i uznać sprawę ich za wspólną z naszą sprawą.

Jesteśmy razem z innymi pokrzywdzeni w swych prawach najświętszych. Dziś nas nie wpuszczają już do sejmu, jeden po drugim następuje zamach na naszą narodowość. Czas jest krytyczny, chwila decydującą, więc z nich korzystajmy i działajmy!"

D. K.



O „Rodzinie Połanieckich".

(Dokończenie.)

Trudności tych nie miał Sienkiewicz, kreśląc panią Broniczową. Dość mu było taki typ znaleźć, aby przy znakomitym darze obserwacyi i niepospolitym zapasie humoru, przenieść na papier nieocenioną ciocię panny Linety. Komedyopisarz, któryby taki typ wprowadził na scenę, zapewniłby nim jednym powodzenie swej sztuce. Ta wdowa po ostatnim z Kurykowiczów, chodząca w ważnych chwilach na cmentarz, aby pytać się o radę zmarłego Teodora, ten Zagłoba w spódnicy kłamiący „aż ściany schną" o swych koligacyach, dawnych zdobyczach miłosnych i powodzeniu Castelki, ta kobieta głupia do ostateczności, a przecież posiadająca właściwy sobie spryt i przewrotność, ta czuła opiekunka siostrzenicy, wiedząca „co się dzieje w sercu matki, choćby była tylko ciotką" ta przeciwniczka rodu męzkiego, podejrzewająca czy wogóle mężczyźni mają jakiekolwiek serca, należy bez wątpienia do najzabawniejszych kreacyi naszej belletrystyki.

Dobrą jest i Aneta Osnowska, kokietująca każdego kto się jej nawinie, flirtująca zrazu na zimno, aż póki nie znalazła Kopowskiego, który się samym flirtem tylko nie zadowolnił. Lepszym jeszcze jest jej mąż, ślepo w niej zakochany, a ztąd nie widzący tego, co wszyscy widzą; jako człowiek dobry, poczciwy, serdeczny, ma za sobą sympatyę czytelnika, który też więcej odczuwa jego straszny zawód, aniżeli nieszczęście Zawiłowskiego, a sympatya ta zwiększyłaby się jeszcze, gdybyśmy wiedzieli, że ten Osnowski cośkolwiekbądź robi, że jest czemś więcej niż mężem swojej żony. Świetnym jest stary szlachcic arystokrata Zawiłowski, krewny poety, który nie chce wydać córki za cudzoziemca, bo to „kiepściejsza rasa", który nie "bierze za złe" swemu krewniakowi, że pisze wiersze, bo "pan Zygmunt był szlachcic i pisywał i to, panie, nie od parady — pan Adam był także szlachcicem, a głośno o nim, głośniej niż o tym furfańcie, co się bawił w demokracyę... Jakże mu tam?" Typy takie schodzą już z pola, a choć są śmieszne i mogą często irytować, mają przecież w sobie dużo oryginalności, a umieją się zdobyć na ofiarę, gdy tego potrzeba. Przepyszny jest i stary donżuan papa Pławicki ze swoją udaną serdecznością i „poświęceniem" dla córki.

Pomijam już inne typy, z których każdy zaciekawia, bo wybornie jest narysowany. Na najwyższą pochwałę zasługuje objektywność autora. Nie potępia on nikogo, w każdej ujemnej postaci zdoła wynaleźć i stronę dodatnią, bo nawet Maszko, choć wstrętny, ma chwilę szczerości, zdolny jest czasem do uczuć szlachetniejszych. Tak bywa przeciętnie w życiu; skończonych aniołów i szatanów jest bardzo mało; u jednych ludzi przeważa egoizm, u drugich altruizm, a stopień tej przewagi stanowi o charakterze, o wartości człowieka.

Scen pięknych w „Rodzinie Połanieckich" jest bardzo dużo. Wspomniałem już o scenie pierwszego zbliżenia się Połanieckiego z Marynią, ale nietylko ta, lecz wszystkie sceny z pobytu Połanieckiego w Krzemieńcach są cackiem artystycznem. Takiemi samemi są wszystkie te, do których wchodzi Litka, a ponieważ nie brak jej prawie nigdzie w całym tomie pierwszym, przeto wymienianie ich byłoby za długiem. Od pogrzebu Litki aż do ślubu Połanieckiego powieść nieco się wlecze. Dzięki bohaterowi, który wciąż się waha, wciąż jest niezdecydowany w analizie swego uczucia dla Maryni, ale i tu są ustępy pełne życia, świeżości, delikatnie wyrzeźbione, dzięki znów udziałowi w nich bohaterki. Najmniej może potrzebna cała awantura Gątkowskiego z Maszką, bo gra w powieści rolę Piłata w credo, również jak i cały Maszko, który potrzebny zrazu Sienkiewiczowi do odkupienia sumy na Krzemieniu, kręci się później przez całą powieść, zupełnie bez celu, chyba na to jedynie, aby Połaniecki miał przelotny romans z jego żoną, i miał sposobność wywołać w sobie zgryzoty sumienia. Od wstąpienia na scenę Zawiłowskiego znów idzie cała serya scen pełnych życia, znakomicie zaobserwowanych, lirycznych, humorystycznych, erotycznych, dramatycznych — słowem, co kto woli. W końcowych rozdziałach zakocha się niejedna czytelniczka, bo są pełne sentymentu, nabrzmiałe urzędową miłością. Ożywia je Sienkiewicz wprowadzeniem „najmłodszego z aryjczyków", Stasia, syna Połanieckich; promyk to wrzaskliwy wprawdzie, ale promyk. Wybornie wreszcie występuje tu Gątowski ze swojemi kłopotami, jakie mu sprawiają serwituty i wiejskie pocieszycielki jego rozpaczy po utracie Maryni.

Jak zwykle u Sienkiewicza spotykamy w powieści dość ustępów głębszych i nieco charakterystycznych stosunków społecznych i towarzyskich. Wyborne są n. p. uwagi Jamisza o tem jak

---

urodzaju dla wszystkich objawów ducha, w którym dzikie materyalne i społeczne więzy przestaną nas krępować, w którym geniusz marnować się nie będzie, w którym duch ludzki, wolny od pęt ucisku, wybuchnie ogromną potęgą i do gwiazd sięgnie, by ujarzmić systemy planetarne; sięgnie do głębin przyrody, by wyrwać tajemnicę jej wnętrza, w którym praktyczna, gruba strona życia zabijać nic będzie duchowej, lecz udoskonalona poruszającą się z najmniejszym wysiłkiem człowieka, bezwładnym ruchem porządku, da mu się pogrążyć w życiu wyższego stopnia (*jeszcze namiętniej*) Oni pracują, by takich jak ja było jak najwięcej. A gdy spotkają takiego przedwczesnego członka przyszłych społeczeństw, piętnują go hańbą bezpożyteczności i zakuć chcą w dyby zajęć praktycznych, by go zniszczyć! Nie znoszą, by ktoś inaczej żył od nich... i używał praw swej natury! I oni... oni... apostołowie swobody człowieka, wyjątkowe dotąd przykłady tych zachowanych praw rozwoju i życia nazywają bezprawiem! (*gorzko*) Oni bezwiednie tak zagubili w sobie instynkt wolności i niezmąconą świadomość praw człowieczych, że choć pracują nad ich utrwaleniem konkretnem, ciemiężą własne wyniki tyranią nową... i zdają się pracować w imię domniemanego tylko dobrego ideału, którego treść jest dla nich ciemną! (*gorzko*) Barbarzyńcy! ciemiężyciele nowego rodzaju, tworzący szereg bojowników wolności ludzkiej! (*śmieje się szyderczo*) Więc dla tego, że czasy raju nie nastały nie wolno być tem, do czego wszyscy świadomie lub bezwiednie, pośrednio czy bezpośrednio dążą?... Nie wolno słuchać praw swej natury dla tego, że inni nie potrafili ich zdobyć jak my, mimo zabójczych warunków, dla tego, że tamci dostąpią ich, nie mocą swej indywidualnej potęgi, lecz dopiero ze zmianą ogólnych warunków, logiką faktów zewnętrznych?... Więc nie wolno nam używać tego, co nam się należy? Nie wolno używać zdobytej swobody? (*wpada w zadumę; gorzko*) A jednak oni słuszność mają! Egoistycznie cieszyć się swobodą rozwoju i życia i nic nie czynić, by się stała powszechną, to podłe!... (*długie milczenie — dziko*) Ha! my, my mamy swobodę?... Nas uciskają więcej niż kogokolwiek, bo nam jej więcej potrzeba! A gdy z bolów i męczarni wychodzi siła nasza niezłomna, potęga naszej myśli, oni rzucają tej myśli bohaterstwa czynów: „tyś czczai płowa!" Czy oni cierpieli jak my? Nie, bo my cierpimy także przez pospolitość i barbarzyństwo cywilizowanych nawet, bo my należymy do mniejszości i rozproszeni w odmiennej większości, rzadko spotykamy równego, podobnego, bliźniego, brata! A ci inni szarpią nas i dręczą ciasnotą uczuć i pierwotnością myśli; bo my cierpimy przez brak odczucia, wspólności, przez wielkie jak śmierć i chłodne jak międzyplanetarna próżnia odosobnienie; bośmy zbłąkanymi z przyszłości, przedwcześnie zrodzonymi ludźmi nienadeszłych czasów. A te dzikie czasy współczesne z swem ohydnem barbarzyństwem niewoli, gwałtów i nędzy z jednej, z swym miałkim utylitaryzmem społecznym z drugiej, z swą zgnilizną, małością i płytkością większości z trzeciej strony, wyniszczają nas przedwcześnie. I myśmy krzywdzeni, oh, jak krzywdzeni! A świat napełnia nam czarę rozpaczy, rzucając nam krzyk nędzy i nawoływanie do powinności, słusznie czy błędnie?... Niewiadomo! Lecz głos ten wyje przekleństwem i groźbą w naszych sumieniach! I oddamy się... oddamy w niewolę zabijającej, przymusowej pracy, by za lat tysiąc wyborne pokolenie mogło *nam* być podobne, lecz bez katuszy sumienia! (*długie milczenie — z rozpaczą*) Piekło! (*zakrywa twarz rękoma, nieruchoma*).

(*Leon staje w drzwiach, długo się waha*).

LEON (*nieśmiało*).

Pani... Wando!

(*Wanda podnosi oczy*).

LEON (*nieśmiało*).

Czy można?... Nie przeszkadzam?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ziemia uszlachetnia, ale i psuje, o jej stanowisku w bogactwie narodowem, o wadach naszych rolników. Wszystko to, co mówi Waskowski jest zawsze głębokie, czy to snuje swoje marzenia o Arjach i chrześciaństwie, czy to wspomina o amatorstwie kolekcyonowania. Znakomitym, godnym przedruku aż do skutku jest ustęp z jego listu o przeciążaniu dzieci nauką; silny to protest przeciw wadliwemu systemowi, podtrzymywanemu wbrew rozumowi przez oficyalnych pedagogów.

O piękności stylu i języka sienkiewiczowskiego zbytecznem chyba wspominać. Gra on na jego klawiszach jak wirtuoz skończony. Jeżeli Słowacki mógł irytować poetów „bezczelną łatwością pisania pięknych wierszy“, to każdy powieściopisarz zazdrości zapewne Sienkiewiczowi jego wspaniałej prozy, tej niemożliwej prawie do naśladowania prostoty, która jest szczytem piękności stylu, to znowu poetyczności obrazów, a wreszcie tych nagłych zwrotów, lapidarnych określeń, rozstrzygania zawiłej kwestyi kilku słowami, rzuconemi jakby od niechcenia..,

Ale pomimo oddania należnego hołdu olbrzymiemu talentowi Sienkiewicza, trudno nie mieć do niego urazy za Połanieckiego i Marynię. Ich małoduszność i małostkowość zawisła nad całym utworem.

Zauważono to już zresztą (Tretiak), że ile razy Sienkiewicz chciał stworzyć z bohaterów swoich postacie dodatnie, reprezentujące pewne idealy społeczne, cofnął się do przeszłości. Jego obserwacya ludzi i stosunków nam współczesnych wyrastała prawie zawsze na gruncie pesymizmu i satyry. Grunt ten wydaje wprawdzie owoc gorzki, ale posiadający zarazem często własności lecznicze. Powieść „Bez dogmatu“ mówi wyraźnie: nie bądźcie takimi jak Płoszowski, bo jak on marnie zginiecie, weźcie ze sobą dogmat na drogę życia, bo inaczej staniecie się jak owo drzewo nierodzące. I gdyby Sienkiewicz nie ukochał w Połanieckich pary swych bohaterów, gdyby nie wmawiał w czytelnika, że mimo swych wad są to postacie dodatnie, za wzór służyć mogące, gdyby patrzał na Połanieckiego i Marynię przez te same szkła, jakich wziął do obserwowania pani Broniczowej i jej otoczenia, stworzyłby powieść satyryczno-obyczajową, a doniosła misya takiej powieści nie ulega zaprzeczeniu. Ale Połanieccy tacy, jacy są, to przytępianie zmysłu moralnego, to pobłażanie wadom i występkom, to obrona błagi, filisterstwa i nicości...

Ale nie jedyny to zarzut, jaki postawić można najnowszemu utworowi Sienkiewicza; obejmuje on szerokie sfery, bo arystokracyę, półarystokracyę, szlachtę, inteligencyę; — mają w nich przedstawicieli: sztuka, poezya, pedagogia, prawo, przemysł, handel... A z całego tego tak szerokiego obrazu wyziera jakaś czczość, jakiś brak zasad, przekonań, dążeń programu — nie ma pomiędzy jego aktorami żadnego społecznego łącznika, żaden wspólny cel nie przyświeca najlepszym z nich, najsympatyczniejszym (prócz Waskowskiego). Wszyscy — z maleńkim wyjątkiem — mają dostatków w bród — kto ich nie posiada od kołyski, temu autor przychodzi w pomoc darowizną, niespodziewanym spadkiem, świetną operacyą finansową. I tych dostatków używają na życie próżniacze, nieustanne świętowanie, włóczęgę po Europie, wycieczki, tańce, zabawy, tualety, na „bywania“, na five o'cklocki, na lawn-tenisy. A nad całem tem życiem, nad całą powieścią unosi się, wypełnia ją erotyzm wszelkiego rodzaju i gatunku. Wydaje się, jakby się rozbiła beczka ze strzałami Amora. Kochają się wszyscy: Połaniecki, Marynia. Zawiłowski, Castelli. Osnowski, Aneta, Krasławska, Maszko, Kopowski, Świrski, Ratkowska, Gątowski, Bigielowie, nawet dziecina Litka i stary Pławicki — a każde na swój sposób, ztąd powstaje cała skala miłości od najidealniejszej do najbrutalniejszej. A kto się jeszcze nie kocha, tego do miłości zmuszają: Bigielowie z Emilią wysyłają Połanieckiego do Krzemienia, by się zakochał, Aneta z Marynią wmawiają w Zawiłowskiego miłość do Castelki. A kto się już nie kocha, ten jest miłości pośrednikiem: Broniszowa, stara Krasławska, stary Zawiłowski, Emilia, Waskowski. Któżby śmiał twierdzić, że miłość nie jest potężnym czynnikiem, ktoby śmiał zaprzeczać jej pierwszorzędnej roli w życiu ludzkiem, — ależ nie jest ona alfą i omegą, istnieje poza nią cały świat pracy, żądz, pragnień i ideałów. W „Rodzinie Połanieckich“ jednak wszystko i wszystkich absorbuje miłość. Amor w niej włada niepodzielnie.

Czy tak jest gdzie na świecie, czy jest tak w naszem społeczeństwie? Nie, na szczęście poza uwielbianiem modrych i czarnych oczów, poza sentymentem i pociągiem płciowym społeczeństwo nasze oddaje się wypełnianiu tysiąca innych zadań, mniej lub więcej doniosłych, ale zawsze przerastających swą treścią fizyologiczne popędy — a jeżeli powieść taka, jak „Rodzina Połanieckich“ obejmuje dwuletnie dzieje szerokich i rozlicznych sfer towarzyskich, to ma się prawo wymagać od niej, aby odzwierciedlała w sobie pracę, myśli, dążenia społeczeństwa i panujące w niem prądy, a przynajmniej je zaznaczyła.

Jeden z rosyjskich krytyków „Rodziny Połanieckich“ powiedział, że powieść ta jest „obrazem, przedstawiającym dzisiejsze polskie społeczeństwo“. Przeciw temu stanowczo zaprotestować należy, bo gdyby tak było, tenże sam krytyk miałby prawo dodać: „I czego chcą ci ludzie? czemu narzekają, za czem tęsknią? — mają pieniądze, próżnują, bawią się, flirtują, kochają — szczęśliwi!“

I oto właśnie, że ów krytyk miałby prawo te słowa napisać, jest największym zarzutem, jaki postawić można najnowszej powieści Sienkiewicza.

* * *

Kończąc opis moich wrażeń, nie mogę powstrzymać się od zapytania: czy „Rodzina Połanieckich“ spełnia to wysokie zadanie, jakiego spełnienia wymaga od powieści sam Sienkiewicz? czy „krzepi życie, uszlachetnia je, czy niesie dobrą nowinę!? czy dostarcza zaczadzonym świeżego powietrza, zwątpiałym nadzieję, targanym niepokojem spokoju“?....

Zdaje mi się, że odpowiedź wypadnie przecząco. I dla tego lubo „Połanieccy“ powiększają plon artystyczny ich autora, lubo znawcy i esteci z rozkoszą będą odczytywali pojedyńcze tej powieści ustępy — nie zostanie ona policzoną w poczet zasług i czynów Sienkiewicza. Chyba, że kto jest wyznawcą „sztuki dla sztuki“, ale chwała Bogu, takich coraz mniej widzimy, a w naszem położeniu całkiem widzieć nie powinniśmy. Zresztą i sam Sienkiewicz w „Listach o Zoli“ gorąco przemówił za szlachetnym utylitaryzmem powieści.

Kazimierz Bartoszewicz.

Nasza kobieta w powieści lat ostatnich.

Nie możemy się uskarżać, ażeby powieść nasza zaniedbywała sprawę kobiecą. Przeciwnie, odbija ona aż dotąd wszystkie nieomal jej koleje i maluje każdą sferę, począwszy od owych wydziedziczonych na najniższych szczeblach drabiny społecznej, aż do wykolejonych, które z salonów i pieszczot przejść muszą do twardej pracy zarobkowania i osamotnienia.

W taki sposób utworzyćby się dały całe cykle powieści, z których każdy dotyka pewnej strony kwestyi i, niezależnie od sympatyi autora lub autorki, od prawdy przedstawianych postaci i sytuacyi świadczy przecież, że społeczeństwo i świat piszący zajmuje się owem przeobrażeniem wewnętrznem, jakiemu od paru lat dziesiątków podlega bezsprzecznie nasz świat

---

Hr. LEW TOŁSTOJ (syn).

POKUSA.

(Ciąg dalszy.)

— Czy mam się znowu upić? To też na nic się nie zda. Wstrętne, wszystko wstrętne.

Począł szybko łypać oczyma.

— Weźmiesz więc udział w wycieczce? — pytał Własow, który się w tym czasie był ubrał.

Nie wiem jeszcze, bracie. Ciebie w każdym razie nie namawiam. Przyznam ci się, że nudziłem się w ostatnim czasie; może i dobrze będzie, że się cokolwiek rozerwę. Stępiałem od tej ciągłej nauki. A i tak z tych wszystkich błazeństw nikt pożytku nie ma. Tu sęk!

Iwański lubił dosadne wyrażenia.

— Nie masz humoru — odparł Własow, uśmiechając się smutnie. — Wstań no teraz, wypijemy herbaty — dodał weselej i zawołał o śniadanie.

Krótko po tem wszedł służący „zajączkiem“ przezwany, mały ruchliwy człeczyna bez zarostu, w surducinie wyszarzanej, niosąc syczący samowar, dwie bułeczki i najnowszy numer „Ruskich Nowin“.

— Dzień dobry panom — odezwał się — składam me życzenia w dniu świątecznym.

— Dziękuję ci, „zajączku“ — odparł Iwański.

— Z numeru 15 już pośli dawno na uroczystość — paplał „zajączek“ pospiesznie. Panowie rączyli długo spać, już po dziesiątej.

Zajączek opuścił pokój. Iwański i Własow wypili herbatę, przejrzeli gazetę, ubrali się i wyszli na ulicę.

III.

Własow wziął udział w uroczystości uniwersyteckiej, potem jadł w restauracyi „Moskwa“, wreszcie widział i słyszał to wszystko, o czem tak długo marzył. Mowy, dłuższe i krótsze oracye sypały się; rozmawiano z sobą po przyjacielsku. Dużo kieliszków wychylono na pomyślność studentów, uniwersytetu, profesorów i nauki.

Własow oczarowany był kilku profesorami. Jeden z nich każdemu rękę ściskał i wyrażał im najserdeczniejsze życzenia. Inny znów prostotą swą zadziwiał, — widząc go, nikt by go nie miał za profesora. Trzeci przemawiał krótko lecz pięknie o znaczeniu wiedzy i o tem, co w związku z nią stoi, o studentach i o wszechnicy.

— Prawdziwa swoboda i równość — pomyślał Własow, opuszczając o godzinie 7-mej restauracyę — wszystko było bardzo wzniosłe!

Był zadowolony. Przedewszystkiem cieszyło go, iż on również mógł brać udział w uroczystości, jako dorosły i jako równy w gronie najwykształceńszych i najbardziej podziwianych ludzi.

Własow był z siebie także zadowolony. Tak jak postanowił, pił mało i czuł się zupełnie trzeźwym. Sądził, że reszta dnia równie szczęśliwie dla niego minie, gdy obiad, który za najniebezpieczniejszy dla siebie uważał, tak dobrze się zakończył.

— Kieliszek szampana — liczył Własow w duchu, biegnąc szybko do mieszkania — pół szklanki piwa, a nawet nie tyle, ćwierć kieliszeczka likieru, ot i wszystko. Dzielnie się trzymał. Własow odczuwał tę radość, która go nad ranem przepełniała. Ulica wydawała mu się po zgiełku uczty niezwykle martwa; było mu błogo.

Mróz orzeźwiał i szczypał go w uszy. Przez ulicę mknęły sanki, na chodnikach ludzie spiesznie biegli, okna wystawowe jasno były oświetlone.

— Na chwilę tylko wpadnę do domu, by zajrzeć, czy listów od rodziców nie ma, potem pójdę do teatru — rozważał w duchu — a jutro znowu zasiądę do pracy. Muszę wyuczyć się praw Newtona; życie pójdzie dalej pięknie i błogo. Uczyć się, uczyć!

Własow pomyślał o Iwańskim. Pił dużo przy stole; zauważył to i zaczął się niepokoić.

— Dzisiaj znowu rozhula się — pomyślał.

kobiecy. Zdobycze równouprawnienia bowiem nie wyrażały się dotąd w przejawach zewnętrznych, takich, jak akty prawodawcze na korzyść kobiet, stworzenie dla nich lub otwarcie instytucyi naukowych, rozszerzanie zakresów zawodowej pracy. Jak całe nasze narodowe życie idzie ono raczej w głąb i wyraża się w przekształceniu poglądów na sprawę kobiecą, w nowem jej stanowisku wśród społeczeństwa, a głównie w zmianach duszy kobiecej. Z biernej staje się ona czynną sprężyną postępu, z istoty, która należała tylko do rodziny, tworzy się człowiek, który poczuwa się do praw i obowiązków obywatela.

Zewnętrzne warunki, w których żyjemy, zmieniły się przecież tak mało, że to przebudzenie człowieka w kobiecie połączonem jest zawsze z walką, okupione cierpieniem, że ją często wykoleja, a zawsze postawić musi na nowym, obcym dla niej, a więc zrazu nieprzyjaznym gruncie, który powoli zdobywa, przystosowując doń swoją moralną i umysłową istotę, i otrzymując w taki sposób prawo poruszania się po nim, jako istota samodzielna i świadoma swej drogi.

Ostatnią powieścią w beletrystyce naszej, osnutą na dziejach takiego wychowania kobiety-dziecka na kobietę-człowieka jest Janka*) p. Gabryeli Zapolskiej.

Przekształcenie powolne naiwnej, dziecinnej niemal postaci kobiecej w człowieka skończonego, który potrafi stawić czoło życiowym przeciwnościom, scharakteryzował nam przed paru laty W. Feldman w postaci swej Jadwigi („W okowach"). Prześliczną postać dziewczęcia, które zapoznaje się z życiem, łamie z niem, walczy i po przez cierpienia i walki zdobywa samodzielne *ja*, mamy w Madzi Prusa („Emancypantki"). Autor pozostawia ją wprawdzie w przełomowym okresie, kiedy wzburzony umysł szukał za kratami klasztornemi chwilowego ukojenia, ale cała istota Madzi pozwala nam wyobrazić ją sobie znów za obrębem owej kraty, przystępującą do życia z nowym zasobem sił. Janka z obu wyżej wymienionemi powieściami, zwłaszcza z Madzią, ma dużo rysów wspólnych, ale tak bardzo zindywidualizowaną jest przez autorkę, że przyznać jej musimy całkowitą oryginalność typu. Postacie Jadwigi i Madzi nakreślone są przez stojących z boku obserwatorów; nie przeczymy, że Madzia ma ze wszystkich trzech najwięcej artystycznych pierwiastków, ale Janka wygląda jak część autobiografii, trudno nam pozbyć się wrażenia, że autorka wcielła w nią cierpienia własne i radości, że przedstawiła swe sympatye i wstręty, odczuwała blizko ją dotyczące zawody i cieszyła się z tryumfów, odniesionych nad własnem „ja". Jankę stworzył kobiecy umysł, z całym niewieścim subjektywizmem, drga nam ona w ręku, jak istota żywa, imponuje siłą uczucia, bogactwem temperamentu a czystością wyobraźni i myśli, porywa mimowoli i zapominać każe o usterkach, a nawet nieprawdopodobieństwach, które wkradły się, zwłaszcza do pierwszego tomu.

Janka Podolska pochodzi ze starej szlachty polskiej. Ojciec jej, znany dziwak, przedstawiony niemal karykaturalnie, zaniedbuje córki, gdyż one nie mogą uwiecznić rodu; cały majątek przeto przekazać ma synowi. Autorka pomija to prawo, które w Królestwie dzielić każe mienie na równe części między dzieci i przedstawia nam dwie zaniedbane ogromnie dziewczyny, które nietylko nie otrzymały wychowania ani wykształcenia, ale którym nawet skąpi ojciec na jedzeniu i ubraniu, nie zadawalniając najskromniejszych nawet ich życzeń. To też dziewczęta wyrastają zupełnie dziko, apatycznie przyglądają się otaczającemu je światu, trawią dnie w bezczynności, zrezygnowane na staropanieństwo i bezbarwne życie. Monotonią tej egzystencyi przerywa dla starszej, Janki, ukazanie się korepetytora brata, Kuniewicza.

Typ to kreślony tylko w ogólnych rysach, przesadny nieco, ale dla tych, co znają naszych młodych ideologów, niepozbawiony psychicznego prawdopodobieństwa. Kuniewicz żyje ideą; teoryą jaką? autorka nam nie mówi, z dorywczych słów jego domyślić się przecież można, że to jeden z owych radykalnych propagatorów, którzy życie swoje i swoich najbliższych wtłaczają w doktrynerskie formułki, żyją wyłącznie myślą i palą się we własnym ogniu, ginąc przedwcześnie przez brak życiowego oportunizmu. Młodzieniec nie zwraca na Jankę uwagi, ale każde słowo jego jest tak odmienne od tego, co usłyszeć mogła wśród swego otoczenia, iż dziewczyna budzi się do życia, myślenia. Przy pomocy dostarczanych jej przez Kuniewicza książek wyrabia sobie światopogląd odrębny od świata przesądów, w jakim żyła dotąd, a przedewszystkiem nieświadomie zrazu, przywięzuje się do swego mistrza całą siłą młodego serca. Kuniewicz nie zdaje się przecież tego spostrzegać i pilnie baczy, aby względem niej spełniać tylko obowiązek ludzki, rozbudzając inteligencyę; wreszcie, nie zastanowiwszy się nad mimowolnie względem Janki zaciągniętemi obowiązkami, wyjeżdża do Paryża. O życiu Janki rozstrzyga ten wyjazd i kilka słów, otrzymanych od Kuniewicza, w których ten zachęca ją do Paryża, nie stawiając przecież żadnego określonego z góry celu wyjazdu.

W Jance przedewszystkiem zbudziło się serce. Pokochała człowieka, a wraz z nim i jego ideały. Odtąd życie przedstawia jej się w nowem świetle, a nadarza jej się sposobność studyowania różnych jego stron, gdyż ojciec, wbrew pierwotnemu planowi, wprowadził ją w świat zabawy i pragnie wydać odpowiednio za mąż, ażeby w jej synu przedłużyć ród Podolskich. Ta zmiana stanowiska dziewczyny, która nastąpiła wskutek nieporozumienia z synem i zerwania z nim stosunków, robi przecież na nią tylko wrażenie odrazy, radaby jednej chwili uciec od tego balowego targowiska. Upokarza ją rola panny na wydaniu, która robić musi dobrą partyę; chwyta też pierwszą sposobność, aby się jej pozbyć i korzystając z tysiąca rubli, które ojciec dał jej na spędzenie karnawału we Lwowie, ucieka do Paryża. Tu dopiero zaczyna się martyrologia, przez którą wyrabia się człowiek. Dziewczę rzucone w odmęt paryzkiego świata, samotne zupełnie traci wkrótce zabraną ze sobą sumkę i zmuszone jest szukać sobie pracy, której uparcie odmawiają niewykwalifikowanej w żadnym zawodzie cudzoziemce. Kuniewicz zjawia się rzadziej jeszcze niż w Warszawie; zrozumiał on, że Janka go kocha, na piękność jej nie jest obojętnym, chwilami podpada zupełnie jej czarowi, ale właśnie budzące się w nim uczucie skłania go do unikania Janki. Ucieka przed nią, gdyż w programie jego życia nie ma miejsca na miłość i stosunek z kobietą, zwłaszcza z kobietą z innej sfery, która, według jego mniemania, spędza życie na zabawie i przyjemnościach. Rozbudził duszę Janki, ale nie przyszło mu nigdy do głowy zastanowić się, czem ona jest teraz, o ile stała się już bratnim i pokrewnym mu duchem.

W taki sposób życie dziewczyny składa się w Paryżu z szeregu zawodów i upokorzeń. Potrzebując pracy snuje się głodna i bez dachu nad głową przez całe dnie; puka do szwalni, magazynów ubrania, do zecerni, wszędzie spotyka ją odmowa lub praca, którą odbierają jej po paru już dniach, albo którą sama rzucać musi, szanując swą godność kobiecą. W tej smutnej wędrówce zstępuje Janka do nizin społecznych Paryża, miesza się z jego mątami, odczuwa współczucie dla najniżej stojących, ale pozostaje równie czystą jak była, nie budzi się w niej żadna myśl niska, żadna nawet zawiść względem tych, którym lepiej się wiedzie. Do Kuniewicza odczuwa również żal tylko za to, że jej nie zrozumiał, że był dla niej twardy

*) Tomów II, Warszawa 1895.

Chciał także przemawiać i był czerwony, przyrzekł mi po uczcie zaraz wrócić do domu. Oby tak było.

Własow pragnął się uspokoić, lecz przeczuwał, że Iwański dzisiaj znowu się upije i najrozmaitsze głupstwa popełni. Cały dzień już był tak usposobiony; ta myśl zaniepokoiła Własowa.

W tej chwili spotkał kilku studentów, którzy ożywioną wiedli rozmowę. Przyjrzał im się. Jednego z rozmawiających znał z widzenia. Powtarzał on ciągle, że coś jest koniecznie, nieodzownie potrzebnem; przekonał się, że student był dobrze podchmielony. Oczy miał błyszczące a w wyrazie jego twarzy było coś zwierzęcego. Nieprzyjemne uczucie ogarnęło Własowa.

— Spijają się, spijają — dumał z goryczą — jak to wstrętne!

Znowu myśl jego zajęła się Iwańskim.

— Gdyby tego święta nie było — ciągnął dalej wątek swych myśli — może Iwański byłby utrzymał się na dobrej drodze. Dzisiaj cały z tego nie wyjdzie. Co za szkoda; jakby się nie można bez tego obyć! Przecież wódka żadnych przyjemności nie daje.

Rozczarowany był. Spodziewał się czegoś lepszego po tym święcie. Uczta nie wydawała mu się teraz tak wspaniałą, czegoś mu brakło. Przypomniał sobie jakiegoś człowieka, którego spotkał na schodach, gdy wychodził z restauracyi. Stał o poręcz oparty, trupioblady, z oczyma mętnemi, mruczał coś pod nosem. Na dywanie przed nim była jakaś czerwona kałuża. Z początku myślał, że to krew, lecz nie, to było wino czerwone z kawałkami niestrawionego śledzia.

— Jakie to wszystko obrzydliwe — wstrząsał się Własow. — A ów smukły student, który z krzesła spadł i czoło sobie rozbił. Co za wstręt!

Wrażenia te wracały stale, gdy myślał o Iwańskim; one mu zaciemniały wesoły obraz uroczystości akademickiej.

— Dużo piją na takim festynie, bredzą od rzeczy, tłuką szkło, które im nic nie zawiniło!

To wszystko wydawało mu się zbytecznem.

Żałował, że te wspomnienia psuły mu piękny obraz, który sobie wytworzył w fantazyi o owym festynie i umyślnie zaczął się pieścić wspomnieniami uprzejmego profesora, który mu tak przypadł do gustu.

— Przecież to od każdego zależy, czy chce, lub nie chce pić — rozważał dalej ku swemu uspokojeniu; — ten kto pije, sam sobie winien, kto nie zna miary, niechaj pokutuje. Ogólne wrażenie jest jednak podniosłe. Naprzykład ci dwaj, którzy po dziesięciu latach się spotkali: jaka to szczera była radość; a jak rozumnie na początku przemawiał Bereszeńko; Nie, jednak było tam pięknie; powstaje łączność, równość i wolność, — powtarzał bezwiednie słowa Iwańskiego.

Był przed domem. Mróz orzeźwił go zupełnie, wesoło przeskakiwał schody. Na mroźnym ganku spotkał „zajączka".

— Są listy?

— Nie ma.

— A był listowy?

— Tak, lecz dla pana nic nie było.

— Szkoda — mruknął Własow smutny; lecz niezadługo wróciło podniesione usposobienie.

— Jak ci się powodzi? zapytał się „zajączka".

— Dziękuję. Czy uroczystość już się zakończyła?

— Tak, przyjacielu. Idę teraz do teatru. Chciałbym zobaczyć „Las" Ostrowskiego.

— „Las"? — powtórzył „zajączek" z rozjaśnioną twarzą — dobra farsa! Widziałem tę sztukę razem z naszym kucharzem; jest on wielkim lubownikiem teatru. Śmiałem się wiele na tem widowisku.

Pomarszczona twarz „zajączka" ułożyła się do zabawnego grymasu.

— Dawno temu ją widziałeś? — zapytał Własow z uśmiechem.

— W przeszłym sezonie.

Uśmiechnął się Własow i podążył do teatru.

i bezwzględny, zapominając, że nietylko chce być kochanką, ale również jest mu siostrą w nędzy i pracy. Kocha go tak silnie, że pomimo uprzedniego zerwania, pomimo postępowania, które nazwaćby można podłem, gdyby podyktowanem nie było przez chęć służenia społeczeństwu, pospiesza na pierwsze wezwanie z jego strony. W najpiękniejszej może z całej powieści scenie autorka przedstawia chwilową harmonię dusz, które po długich udręczeniach zlały się wreszcie w zgodnym akordzie uczucia. Przerywa go ostatni atak płucnej choroby, która rozwijała się oddawna u Kuniewicza, a teraz go zabija. Jankę znaleziono na jego grobie na pół martwą i prawie szaloną z rozpaczy i odwieziono do szpitala obłąkanych. Nie był to przecież obłęd, tylko ostatnie przesilenie od tak dawna napiętych nerwów. Po licznych przygodach, które zaostrzały jeszcze dziwactwa ojca i jego okrucieństwo niemal, żegnamy się z nią wreszcie jako z kobietą szlachetną, wyrobioną przez cierpienie, posiadającą w wysokim stopniu ową filozofię, która każe zapominać o sobie, a żyjąc szczęściem i cierpieniem drugich, zdobyć spokój i równowagę. Autorka usunęła z jej drogi również wszelkie zapory zewnętrzne, a więc ojca, brata i siostrę, która wstąpiła do klasztoru i pozwala nam snuć dalej w wyobraźni nić tych losów, któremi kierować już będzie świadoma, pewna i dobra ręka wyrobionej kobiety-człowieka.

Oto treść dwutomowej powieści p. Zapolskiej. Nie mamy zamiaru poddawać jej krytyce, tem bardziej, że nosi ona wszystkie właściwe jej twórczości cechy, że jest zajmującą i porusza żywo imaginacyą i uczucie czytelnika, który chętnie jej za to wybaczy pewną hyperboliczność stylu i myśli, a nawet karykaturalność niektórych postaci. Dała nam ona próbkę, czem może stać się życie młodej kobiety, gdy porzuci utarte koleje, jak oddziałają na nią nowe wrażenia, jak samodzielność, praca myśli i rozwój uczucia dodatnio wpływają na wykształcenie młodej istoty, ile one dają szczęścia, nawet wśród cierpień i przejść życiowych.

Godnem uwagi jest, że trzy typy kobiece, między któremi nasunęło nam się mimowolne prawie porównanie, chcąc zacząć nowe życie, opuszczają grunt, na którym upłynęło dawniejsze. Jadwiga (w Okowach) porzuca męża, którego szanować przestała i z dziećmi przenosi się do małego miasteczka, gdzie prowadzi pustelnicze niemal życie, oddana wychowaniu dzieci i pracy nad sobą; Madzia (Emancypantki) opuszcza dom rodziców, aby rozpocząć zawód nauczycielski, w którym łamie się z własnym charakterem i z tysiącem przeciwności, wyrastających na jej drodze; dzieje Janki opowiedzieliśmy wyżej. Jakkolwiek w życie każdej z tych trzech kobiet zaplątał się natrętny e r o s, nie działają tu przecież awanturnicze pobudki i przyznać trzeba autorom, że mieli słuszność, dając tło nowych warunków tam, gdzie szło o wyrobienie nowego człowieka. Jeżeli otoczenie znaczny wpływ mieć musi na charakter każdego człowieka, to tem bardziej mieć go będzie, gdy idzie o kobietę splecioną z rodziną silniejszym węzłem tradycyonalnie wytworzonych pojęć o obowiązkach, charakterze i stanowisku jej w społeczeństwie. Jeżeli w dawniejszych czasach młodsze pokolenie kobiet zwykle tak bardzo podobnem było do starszego, jeżeli na tle zmian w pojęciach i postępu świata kobieta stanowi aż dotąd pierwiastek zachowawczy, w znacznej mierze przypisać to trzeba okoliczności, że tyle pokoleń kobiet wychowało się w tych samych warunkach i otoczeniu rodziny, przechodząc z pod opieki ojca lub matki pod opiekę męża, że mało stykają się z ludźmi obcymi, podlegając wciąż tym samym wpływom. Nowe pokolenie kobiet wychować się tedy może tylko w całkiem zmienionych warunkach; walczą one z sobą, walczą z rodziną i opinią o ile pozostają w dawnych i na tę walkę tracą nieraz najlepsze siły.

Drugą cechą wspólną zwłaszcza Emancypantkom i Jance jest pewna idea mistyczno-religijna, która po odrzuceniu dogmatycznej wiary pozostaje przecież w formie dążenia ku idealnemu deizmowi. Madzia ukojenie znajduje w klasztorze, wraca przeto pozornie do punktu, z którego wyszła. Janka nawet pod wpływem pozytywnych przekonań Kuniewicza przechowuje potrzebę wiary na dnie serca i pewien pociąg ku mistycyzmowi, który zdradza przy spotkaniu z francuzkim malarzem. Powieść kończy autorka religijną sentencyą.

Autorowie nasi nie wyobrażają sobie tedy kobiety bez uczuć i dążeń na tle religijnem, ale u nowego pokolenia są one raczej deizmem, kultem opartym na indywidualnych właściwościach, nie na dogmacie, a więc wiarą uszlachetnioną, która nie staje się zaporą do rozwoju, ale przeciwnie jednym z jego czynników.

W rozwoju tego nowego pokolenia kobiet niewątpliwą rolę odgrywa miłość, u Janki jest ona najwyraźniejszą.

P. Zapolska uczyniła z niej istotę pod względem temperamentu biernie-namiętną, oddającą się bewzględnie uczuciu, zahypnotyzowaną niem prawie. Ale uczucie to na tyle głębokie, że objęło i duchową stronę dziewczyny, pod jego wpływem staje się właściwie rozwiniętą i myślącą kobietą, altruistką żyjącą dla drugich, pracownicą, która sobie chce wszystko zawdzięczać. Czy w rzeczywistości istnieją kobiety, u których taka przewaga temperamentu i uczucia pozwoliłaby przecież samodzielnie rozwinąć się myśli, które namiętność, i to niepodzielona, podnosiłaby zamiast obniżać? Na pytanie to postać Janki odpowiada twierdząco; autorka każe jej przedewszystkiem kochać i dzięki tej miłości zdobywać szlachetne ludzkie przymioty. Zarzucilibyśmy nieprawdopodobieństwo temu założeniu, gdyby nie to, że Janka jest tak młodą i tak bardzo pozbawioną była aż do czasu spotkania z Kuniewiczem wszelkiego promienia, któryby rozświetlił jej drogę, rozgrzał serce, rozbudził umysł, że utożsamiać musi z jego osobą wszelkie pierwiastki życia, które się dla niej od chwili spotkania z nim zaczyna. Że zaś Kuniewicz usuwa się, działa tu nietyle jego wpływ osobisty, ile raczej myśl o nim i jego ideałach, co pozwala dziewczynie rozwinąć się samodzielnie. U Madzi (z Emancypantek) miłość odgrywa drugorzędną raczej rolę. Obraca się ona na gruncie Warszawy, nie jest skazana na tak zupełną samotność jak ta, w której dojrzewa uczucie Janki i wreszcie nie spotyka na drodze swej człowieka, któryby w swej osobie urzeczywistnił również nowy świat myśli i uczuć. Można się spodziewać, że z czasem pokocha idealnego przedstawiciela burżuazyi, Stefana Solskiego, że jej ta miłość da równowagę umysłu i grunt pod nogami, nie może w niej być przecież tego idealizmu, co w miłości Janki dla ubogiego ascetycznego młodzieńca, który sam ukochał nędzę i ideę i należy do przedstawicieli owego pokolenia najmłodszych, nie przynoszących niekiedy konkretnej korzyści dla tego, że za daleko odbiegli od warunków, w jakich żyć muszą.

Janka nosi jeszcze jednę, właściwą sobie tylko cechę, oto jest charakterem tak czystym, że męty życia, których się dotyka, zbrukać jej nie mogą. Autorka bardzo umiejętnie przeprowadza tu rozdział między warunkami życia i samą istotą człowieka, poetyzuje może swą bohaterkę, ale czyni to najprostszemi środkami, przedstawiając duszę tak prostą, iż myśl upadku lub jakiegokolwiek kompromisu nie nasuwa się jej nawet. To samo powiedziećby można o Madzi; trudno o więcej kryształowy charakter od owej emancypantki. I Jadwiga, choć nieco starsza, choć w chwili, gdy się z nią zapoznajemy, przeszła już szkołę życia, jest szlachetną, czystą naturą, daleką od wszelkiego kłamstwa i kompromisów. Bohaterki nowego pokolenia w powieści naszej należą przeto nie do istot niezwykłej inteligencyi, ale do kobiet wysokiej miary moralnej. Świat, pod wpływem którego

---

IV.

W teatrze dawano po Ostrowskiego sztuce lekką komedyjkę. Własow i tej był ciekawy. W międzyakcie poszedł do bufetu, czuł bowiem pragnienie po winie i sutym obiedzie; chciał napić się gruszecznika, przeznaczając na to ostatnią złotówkę w tym dniu. Do domu pójdzie pieszo.

Zeszedł na dół; przed sobą ujrzał dwie eleganckie kobiety, króre z papierośnic wydobyły cygarety. Pokój restauracyjny przepełniony był dymem.

— Proszę o butelkę gruszecznika — mówi grzecznie do garsona, który rozlewał w kieliszki wino dla grona otaczających go mężczyzn.

Gdy przyniesiono mu napój, stanął przy stole, nalał musujący płyn do szklanki i właśnie miał zamiar wypić, gdy wpadła do bufetu chmara podchmielonych studentów. Gwarno było w kole studenckiem, a melancholijny głos basowy górował nad innemi:

— Zgubiła się kanalia! A jednak tylko tutaj może być.

Własow poznał Iwańskiego. Przeląkł się mocno. Pierwszą jego myślą było uciec, schować się, zapaść się w ziemię; było jednak za późno.

— Przecież jest! przecież jest! — zawołał Iwański, dziko ucieszony, ujrzawszy kolegę. — Mówiłem, że się schronił w bufetowej sali. Ach kanalio! Piotrusiu! Serdeńko.

Na Własowa spadło to wszystko niespodzianie. Miał uczucie, jakby go w tej chwili ktoś chciał schwycić i krzywdę mu wyrządzić, czuł, że teraz jest zgubionym. Pulsa biły mu w skroniach, przybladł i stał chwil kilka nieprzytomny, nie rozumiejąc, co się wokoło niego dzieje. Iwański był tęgo napiły i taczał się mocno. Surdut miał rozpięty, oczy mu zapadły, kąty ust drgały, a na twarzy jego, z której wystawał długi nos, jako coś zupełnie zbytecznego, rozlany był wyraz głupoty.

— Nie myśl, że jestem pijany, — woła Iwański, — użyłem tylko nieźle, to prawda. Przybyliśmy po ciebie. Mamy tu trójkę, pojedziesz z nami. Nie myśl, że cię zaprowadzimy do jakiej dziury podejrzanej. Sam cię odprawię do domu. Przejedziemy się tylko, przystajesz? Nie myśl tylko, że...

— Ja nic nie myślę — odzywa się wreszcie Własow — nie wrzeszcz tak, nie wypada.

— Nie wypada? — powtarza Iwański — czy ty wiesz, co wypada? — zaczął jeszcze głośniej wrzeszczeć. — Powiedz mi, zkąd ty sobie pozwalasz kryć się i pić gruszecznik? Wielki Boże! wszechmocny Ałłahu! Ta kanalia pije gruszecznik!

Własow nie wiedział, jak się ukryć. Iwański zachowywał się ordynarnie i zwracał ogólną uwagę; na szczęście odezwał się dzwonek, zapowiadający rozpoczęcie sztuki.

Po Iwańskim zbliżyli się kolejno i inni studenci, z których ten i ów był mu znanym; na czele ich był książę F., wysoki, smagły, ciemnej płci i pociągłej twarzy. Własow krótko przedtem się z nim zapoznał, podobał mu się bardzo.

Książę zbliżył się do Własowa i powitał go.

— Przyjaciel wasz cokolwiek wesoły — mówi grzecznie — to minie. Nie troszczcie się o to. — Siadajże! — zwraca się do Iwańskiego. — Chcieliśmy was zabrać na przejażdżkę trójką, bez was ten krzykacz nie chce z nami jechać. Przyjmujecie nasze zaproszenie?

— Ależ przyjmuje — woła Iwański — co tu wiele pytać?!

— Cicho — przerywa książę — siedź lepiej spokojnie, radzę ci.

Iwański zamilkł i posłusznie zasiadł ciężko przy jednym z marmurowych stolików. Głowa jego bezsilnie obwisła, a oczy mu zapadały.

— Pojedziecie z nami? nieprawda? — mówi książę, biorąc Własowa za rękę.

— Dziękuję ślicznie, lecz niezadługo zaczyna się sztuka, a ja postanowiłem być rychło w domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

tak zwana kobiecość do praktycznych skierowuje się celów, nie ma wpływu na ich wewnętrzną istotę.

Po ukazaniu się „Emancypantek“ Prusa podniosło się wśród naszych kobiet postępowych niezadowolenie, że autor tak niewyraźnej i mało uzbrojonej do życiowej walki istocie jak Madzia każe być przedstawicielką młodego, a raczej najmłodszego pokolenia. Być może, że Janka większą jeszcze wzbudza niechęć. A jednak zarzuty, jakie autorów spotkać tu mogą, nie będą sztuczne. Ani Madzia, ani Janka nie dają wzoru postępowania, ale artystycznie określone, złożone dusze kobiece, podpatrzone w okresie przełomowym — urabiania się. Samo wkroczenie podobnych postaci do powieści, postaci bezwarunkowo dodatnich i obiecujących jako przyszłe kobiety-ludzie i obywatelki, jest już objawem, świadczącym o postępach naszej sprawy kobiecej. Nowe prądy skłaniają nietylko do obrania zawodu, do nauki, do pracy, ale przeobrażają duszę, dają jej siłę i świadomość własnej istoty, to ważniejsze niż wzór do naśladownictwa.

Dr. Z. Daszyńska.



BADANIA NAUKOWE.

Kryminalistyka polityczna.

(Dokończenie.)

Godne wielkiej uwagi są słowa Proala o wpływie pisarzy na umysły ludzkie. Odpowiedzialność pisarzy jest zaiste straszną, jakkolwiek sami oni wolą mniemać, że ich doktryny nie wpływają na czyny ludzkie; tymczasem sofizmat pisarski częstokroć więcej szkodzi ludzkości, niż samo przestępstwo. Zanim przewrotne pojęcia o rodzinie, religii i społeczeństwie przedostały się do szerszych mas ludu, wylęgły się one w dziełach pisarzy. Umysły młode lub mało wykształcone chwytają w lot nęcące idee i wprowadzają je w życie. Proal badał raz oskarzonego o fabrykacyę bomb młodzieńca, który się odznaczał pracowitością, oszczędnością i dobrem prowadzeniem się: jedyna rzecz, która go zgubiła — był to sofizmat. Pokój jego znaleziono zapełniony broszurami i dziennikami anarchistycznemi, one to zawróciły mu głowę. Trzeba pamiętać, że istnieją nietylko fizyczne trucizny, lecz i umysłowe, oraz że są idee, które przyrównać można do materyi wybuchowych; biada ludowi, którego umysł przeładowuje się niemi! Anarchizm polityczny wypływa z anarchizmu moralnego, który jest wynikiem anarchizmu umysłowego. Dla tego zadaniem każdego dobrze myślącego człowieka jest zbijać przy każdej sposobności fałszywe teorye społeczne — kto bowiem tego nie robi, staje się niejako współwinnym ich skutków. Propagandzie złego trzeba przeciwstawić pojęcie dobra; sofizmatów nie trzeba pozostawiać bez protestu. Ludzie, stojący u szczytu, mają przedewszystkiem obowiązek podawania dobrych przykładów, jeżeli pragną na ulicach i w umysłach przywrócić spokój. Skandale parlamentarne, nieuczciwe zdobywanie fortun, sprzedajność polityczna powinny ustać; w ten sposób osłabiony zostanie anarchizm.

Osobny rozdział poświęca Proal w swej książce „nienawiściom politycznym“. Według Bossueta, Bóg w sercu człowieka umieścił dobroć, jakby świadcząc przez to o naszem podobieństwie do Niego. Ażaliż to prawda? — woła Proal, wyliczając wszelkie nienawiści ludzkie: teologiczne, narodowe, socyalne, stanowe, rasowe itd. Wilk nie pożera wilka, ale ludzie się pożerają wzajemnie. Podczas wojen peloponeskich Ateńczycy oświadczyli obywatelom wyspy Melos, którzy chcieli się wyłamać z pod ich władzy: „o sprawiedliwości mówić mogą tylko równie silne strony“. Zasada ta, jak czerwona nić, wije się przez wszystkie dzieje; zabija ona całe rasy. Nienawiści socyalne zabijają szlachetny patryotyzm, nienawiści partyjne zabijają ład w państwie. Gdy przeciwnik ma siłę, wówczas go spotwarzają i szkalują; strona silniejsza katuje słabszą z tem większem szaleństwem, że kat nie zna przebaczenia. Rewolucya francuzka podszczuwała przeciwko swoim nieprzyjaciołom i ofiarom pijane tłuszcze. „La canaille est à nos ordres!“ — przechwalał się publicznie Danton. Tłuszcze zaś mordują i niszczą wszystko bez namysłu. Bezeceństwa rewolucyi przypisuje Proal apatyi ludzi uczciwych i z żalem zauważa, że energia ich i dzisiaj słabnie w miarę rozzuchwalenia się wrogów społeczeństwa.

Z kolei przechodzi autor do hypokryzyi, czyli obłudy politycznej. Ludzie, żądni władzy i stojący u jej szczytu, udają zawsze, że są zacni i sprawiedliwi, rozczulają się nad nieszczęściami bliźnich, wykazują zdwojoną pobożność: wszystko to jednak jest przybraną maską. Dzieje nie znają chyba większego hypokryty nad Robespierra albo Cromwella, który ze łzami w oczach i cytatami z Pisma św. na ustach zapewniał, że władza mu cięży, i że wolałby pasać na wsi baranki. Podobnież i narody zwycięzkie uprawiają *en masse* obłudę polityczną, przekładając przy każdej sposobności innym, że działają dla ich szczęścia. Demagogowie uroczyście twierdzą, że mają na celu jedynie dobro ludu. Hypokryzya wypływa z poczucia obawy przed zemstą ludu; obawa też czyni hypokrytów okrutnymi. Zdarzają się chwile, że ludzie uczciwi wolą wyć razem z wilkami, niż wystąpić przeciwko nim — o tem hypokryci dobrze wiedzą. Zbadawszy nastrój tłumów, umieją oni doskonale je oszukiwać; przywódzcy ruchu socyalnego występują jako najczulsi przyjaciele nieszczęśliwego ludu, ale w istocie są jego uwodzicielami. W Paryżu, jak ongi w Atenach, najpopularniejsi obrońcy ludu są zarazem najprzewrotniejszymi ignorantami. Dla ogłupienia ludu posługują się oni propagandą niewiary i nieokiełznanej wolności, jakkolwiek chodzi im tylko o własną wolność; dla dobra publicznego głoszą potrzebę rewolucyi, owego „dobroczynnego szatana“ ludzkości. Tymczasem demagogowie, którzy krzyczą tak wiele przeciwko tyranii, są może najgorszymi tyranami dla omamionego ludu.

W dalszym ciągu rozważa Proal innego rodzaju przestępstwa polityki, t. zw. „grabieże polityczne“. Starożytni, którzy gardzili pracą fizyczną, zdobywali potrzebne rzeczy, ograbiając zwyciężonych. Rzymianie zrobili z wojny środek wzbogacenia się; dowódcy ustawicznie podniecali żołnierzy obietnicami łupu. Zwyczaj grabienia zwyciężonych ludów trwał do ostatnich czasów. Zabierają im zboże, bydło, ziemię rolną, nawet biblioteki, zbiory muzealne i chełpią się z tego. Angielscy królowie bez skrupułu odbierali Irlandczykom ziemię i oddawali ją w posiadanie swoim lordom. Konfiskaty są dziś jeszcze na porządku dziennym; ale niemasz dla nich żadnego usprawiedliwienia, bo ze stanowiska moralnego są to najpospolitsze grabieże. Ci, którzy się dorwali do władzy, każą sobie za to płacić bajeczne sumy ze skarbu; ci, którzy podczas rewolucyi gardlują za prawami czło-

---

HELENA CEYSINGER.

RYCERZE.

— A ty, Jasiek, codzień ich widzisz?

— Codzień, nie codzień. Najwięcej o zachodzie słońca. Czasem se jadą powoli, cichutko, i przejadą, i już. A kiedyści znowu to lecieli, ino ziemia drżała, ino szum szedł wielki jak po drzewach w lesie, ino chorągwie migały...

— Jasiek, ja tu z tobą zostanę do wieczora, ty mi ich pokażesz, dobrze? — zawołałem szaloną ciekawością opanowany.

— A niech się panicz zostanie. Żeby ino wyjechali dziś na pole...

Przed nami ciągnęła się rozległa równina, płaska, monotonna, melancholijna, jak step, tonąca cała w lekkiej mgle, złotawej od promieni jesiennego słońca. Na krańcu płaszczyzny siniał las. Z niego wedle opowiadania Jaśka wyjeżdżali rycerze, i ginęli w przeciwległej puszczy. Nie od niego usłyszałem o nich po raz pierwszy. Legenda to była miejscowa. Kiedyś, dwieście lat temu podobno, w lesie tym pokazać się miały komuś duchy poległych wojowników. Na pamiątkę tego cudu ustanowiono nawet odpust w naszej parafii. Odtąd corocznie z całej okolicy schodzili się ludzie na „Rycerzy“ do kościoła, ale ich samych nikt więcej nie widział i nie słyszał o nich nikt. Niańki chyba tylko bajały o nich dzieciom, by je prędzej ukołysać do snu. I ja też od piastunki mojej dowiedziałem się niegdyś o tych tajemniczych rycerzach, a potem Jasiek oczarował mi wyobraźnię opowiadaniem, że ich widuje jak żywych, na koniach pędzących przez pole. Jaśkowi wierzyłem bezwarunkowo. I teraz leżąc obok niego, i patrząc na gromadkę owiec skubiących trawę po rżysku, jedną tylko miałem obawę, czy oni aby wyjadą dziś na pole?

Słońce chyliło się coraz bardziej ku zachodowi, w powietrzu cisza była niezmącona. Jasiek w postawie półsiedzącej, klęczącej na pół, z nogami podwiniętemi pod siebie, plótł kapelusz z różnobarwnej słomy. Długie, płowe włosy spadały mu na czoło; odkrytą głowę paliły gorące jeszcze promienie słońca, ale on zdawał się nie czuć tego.

Chwile oczekiwania dłużyć mi się zaczynały.

— No Jasiek, prędko oni się pokażą? — spytałem szeptem.

— Pewnikiem niedługo już. Burek tu, do nogi!

Pies przybiegał posłuszny i kładł się koło swego pana, a ja wysyłałem znów ciekawy wzrok w omgloną, choć świetlistą dal, i czekałem cierpliwie.

Nareszcie namiętne pragnienie ujrzenia cudownych rycerzy tak wzmogło się we mnie, że byłem gotów pół życia dać za to, by raz już przecie wysunęli się z tego czarnego lasu. Co chwila też rzucałem na Jaśka niespokojne, pytające spojrzenie, ale on siedział z głową spuszczoną, milczący, zajęty swoją robotą.

Naraz zatrząsł się całem ciałem i takim dziwnym wzrokiem spojrzał przed siebie, że dreszcz przeszedł mnie od stóp do głów.

— Jadą paniczu, jadą! — wołał pochylony naprzód, z szeroko otwartemi oczami.

Burek się zerwał w tej chwili i najeżywszy grzbiet, ze łbem zwróconym w tym samym kierunku, w którym Jasiek rękę wyciągał, szczekał gwałtownie.

— Jadą, jadą — powtarzał wciąż chłopak — rycerz wielgi, pod niebo, jeden, drugi... ilu ich tam! O Jezu, Jezu! A jak ten wicher rwą! Wojsko całe wali za nimi, aż ziemia dudni... Jakie blachy złociste, jakie chorągwie mają wielgie... A szumi, Jezus, Marya!

Umilkł, opuścił ręce, i zamknął oczy, a w tej chwili i Burek zawył przeciągle.

— Przejechali już? — spytałem Jaśka.

— Już, już paniczu.

Co do mnie nie widziałem nic zgoła.

— Paniczu! Edwardku! — rozległo się naraz z dwóch stron wołanie.

To mnie szukano. Zerwałem się na równe nogi i pobiegłem w stronę parku, zkąd dochodziły mnie znajome głosy. Przy płocie ujrzałem lokaja, Jakóba.

— A czemu to panicz tak daleko odchodzi i tak długo nie wraca? — gderał na mnie stary, — pan guwerner już od godziny szuka na wszystkie strony.

Wziął mnie za rękę i spiesznym krokiem ruszyliśmy przez na pół mroczne już aleje parku ku domowi.

— Jakóbie, mój kochany Jakóbie — pytałem, biegnąc prawie obok niego, dla czego ten Jasiek widzi rycerzy, a ja nie?

— Co panicz wygaduje? Jakich rycerzy?

wieka, nie wahają się grabić wszystkiego, co należy do „bogatych“. Dziś mamy grabieże finansowe, odbywające się pod egidą polityki. Podobnie, jak niegdyś dworacy uprawiali systematyczną grabież, teraz uprawiają ją politycy w postaci operacyi finansowych. Podczas, gdy rolnik musi dla wyżywienia siebie ciężko pracować, politycy z łatwością zdobywają ogromne fortuny przez kłamstwa, sofizmaty, kalumnie i niezdrowe teorye. Dworacy sprzedawali miejsca: oni sprzedają koncesye i monopole. Ztąd olbrzymie oszustwa, tak, iż słusznie możnaby przytoczyć słowa Biblii: „kupcy twoi stali się panami ziemi; książęta wasi — wspólnikami złodziei“. Krach r. 1882 kosztował pracowitą i oszczędną ludność Francyi kilka miliardów franków. Prasa jest na usługach grabicieli społecznych; służą im ministrowie, posłowie, senatorowie. Mylnie jednak sądzi socyalizm, że nowa rewolucya położy kres tej orgii: rewolucya wszelka byłaby tylko nową straszną grabieżą. Droga jest jedna: wytrwała praca, podniesienie moralności, surowy i sprawiedliwy sąd nad przestępcami.

Ostatnie rozdziały swej książki Proal poświęca korupcyi, uwzględniając z osobna korupcyę mężów stanu, korupcyę wyborców, korupcyę prawodawstwa, sprawiedliwości i obyczajów społecznych. Są to duże rozdziały, opatrzone licznemi cytatami. Spotykamy w nich częstokroć głębokie myśli, świadczące o wielkiem poczuciu prawd duchowych u autora. „Niezmiernie trudniej — powiada on — wywołać rewolucyę moralną, niż polityczną; łatwiej jest zmieniać rządy, niż sumienia“. Przytaczając dzieje korupcyi politycznej we Francyi, Proal robi uwagę, że rządy restauracyi i Ludwika-Filipa odznaczały się mniejszem zepsuciem pod tym względem, niż republikańskie.

Wybory i głosowanie ludu zdawały się niedostępnymi dla korupcyi: jednakże czasy obecne przekonywują, że nawet głosowanie powszechne stało się pospolitem narzędziem w ręku ambitnych polityków. Stronnictwa rządzące wywierają wszelki możliwy nacisk na głosujących; gminom przyrzekają zapomogi i roboty publiczne, urzędnikom — awanse, wpływowym jednostkom — ordery: niepodległych wyborców szykanuje i popycha władza administracyjna. Kandydaci na przedstawicieli ludu kadzą mu pochlebstwami i otaczają się osobistościami, które ich mowom przyklaskują za zapłatę. Dziś dostatecznem jest pięknie mówić, aby się wynieść nad tłum; należy tylko przyrzekać wyborcom jak najwięcej pięknych zmian, chociażby wiadomem było, że to są rzeczy niewykonalne. Dochodzi do tego, że przy urnach wyborczych popełniane są pospolite oszukaństwa w postaci fałszywego obliczania głosów. Proal znowu zwraca się do uczciwych ludzi wszystkich stronnictw i zaleca im, aby się usilnie starali o zapobieżenie hypokryzyi wyborczej. Obojętność polityczna jest w danym razie grzechem nie do darowania.

Przewrotność polityczna skoszlawiła nawet prawodawstwo i sądy. Powołane do bronienia swobody i własności obywatelskiej ciała prawodawcze stały się w ręku polityków środkiem do gnębienia przeciwników. Politycy uczynili je areną walk stronniczych; łatwo przytem znaleźć uczonych prawników, którzy gotowi są uzasadnić najbardziej niesprawiedliwe postanowienia. W parlamentach wysuwają się na pierwszy plan krasomówcy, adwokaci i profesorowie, to jest ludzie słowa, podczas gdy ludzie myśli i czynu zostają w cieniu. Trzeba wprawdzie mówić dobrze; ale nie potrzeba żadnych młynów i cymbałów krasomówstwa, rozlegających się z trybun sejmowych. Projekty prawodawcze przychodzą pod obrady bez należytego wystudyowania — zjawisko dziś powszechne na zachodzie.

Najstraszliwsze wszakże skutki nieuczciwej polityki objawiają się w korupcyi sądów i spaczeniu ich zadania moralnego. Stronnictwa rządzące zwykle ustanawiają wyjątkowe sądy polityczne, aby tem skuteczniej gnębić przeciwników. Senat rzymski za Cezarów, sądy angielskie za Cromwella, trybunały francuzkie w epoce wielkiej rewolucyi — były to narzędzia nienawiści. Napoleon I, w procesie księcia d'Enghien, wyznaczył komisyę, złożoną wyłącznie z wojskowych, którzy pogwałcili wszystkie przepisy sądownicze, gdyż Napoleon z góry skazał księcia na śmierć. Polityka miesza się nawet do najzwyklejszych czynności urzędniczych; urzędnik staje się narzędziem w jej ręku i musi wyrzec się swej indywidualności; dbają o to, aby był dobrym wykonawcą rozkazów, lecz nie dbają wcale o to, aby był dobrym człowiekiem, odpowiedzialnym samoistnie za swe czyny.

Autor zauważa, że duch narodów urabia się podług ducha rządów. Gdzie rząd jest zły, tam naród staje się podejrzliwym i trwożnym; natomiast istnienie dobrych rządów umoralnia ludzi. Ciągła zmiana rządów powoduje sceptycyzm i budzi instynkta rewolucyjne, zmuszając do kupczenia przekonaniami. Każda zmiana rządu pociąga za sobą powstawanie i upadanie dużych fortun, co dla pracowitej ludności jest ciosem. Gdy rząd zaczyna się chwiać, wówczas wszyscy ambitni i wykolejeni rzucają się w wiry walki politycznej, aby coś dla siebie wyłowić; ztąd wypływa brak zamiłowania do czynnej osobistej pracy; poważni działacze społeczni zostają na uboczu i nie wpływają na bieg spraw. Mali tyrankowie w gminach i okręgach miejskich wkładają na lud jarzmo moralne; władza wykonawcza słabnie, oczy wszystkich zwrócone są na krasomówców i deputowanych. Zepsucie obyczajów publicznych staje się wówczas powszechnem.

Aby wyrwać społeczeństwo z tego stanu, potrzeba wielkiej siły moralnej, której nie da ani ateizm, ani sama tylko wiedza. Siła ta leży dla Europy w chrześciaństwie: wszak ono wprowadziło w życie święte zasady, z których wypływa poczucie wolności osobistej, równości i braterstwa; ono bezustannie głosi, że trzeba się starać o doskonałość wewnętrzną. Materyalizm zasady te spaczył i w imię braterstwa pławił we krwi tysiące ludzi, zupełnie niewinnych z punktu widzenia moralnego. Oto dla czego występne rządy i obłudni politycy twierdzą, iż chrześcijaństwo jest wrogiem społeczeństwa.

W końcowym ustępie Proal streszcza swoje własne sądy, które zresztą poznaliśmy już w poprzednich rozdziałach. Ponieważ dziś lubią wszystko, co nowe, to czemuż nie może odegrać rolę takiej nowości polityka moralna? Dla czegoż nie mamy uznać, że w życiu publicznem, jak i prywatnem uczciwość jest największą cnotą? W panującej obecnie teoryi Machiavela więcej jest niemoralności, niż głębokości sądu; polityka machiavelistyczna nie potrzebuje geniuszów. Polityka powinna nietylko dążyć do porządku i dobrobytu, lecz powinna także dbać o moralne wychowanie ludów. Sceptycyzm i materyalizm zaciemniły istotne zadanie polityki, ztąd powstały wszelkie polityczne pozytywizmy, nihilizmy, anarchizmy. W stosunkach międzynarodowych powinna również panować moralność; przypuszczać można, że wojny z postępem prawdziwej cywilizacyi będą się stawały coraz rzadszemi. Moraliści powinni zwalczać wszelkie sofizmaty polityczne i wpajać w bliźnich przekonanie, że nie masz żadnej podwójnej moralności, że cel nie uświęca

---

— Nawet Burek ich widzi, jak jadą tam przez pole, a ja nie...

— Co on tam Edwardkowi baje, a Edwardek słucha i wierzy wszystkiemu! — oburknął się stary. — Ot dobrze, że znalazłem, bo pan już wraca, to znowu byłby hałas, że panicza niema przy kolacyi. No proszę teraz iść prosto do stołowego pokoju.

* * *

Od chwil tych ubiegło lat kilkanaście. Płaszczyzny bezbrzeżne, dalekie puszcze czarne, cały ten jasny świat mego dzieciństwa wraz z cudownemi legendami i Jaśkiem-wizyonerem poszedł w zapomnienie.

Byłem w Berlinie na kursach, kończyłem rok dwudziesty pierwszy i przygotowywałem się do objęcia dziedzicznych majątków, ojciec mój bowiem umarł przed kilku laty, a matka idealistka trochę i marzycielka nie umiała praktyczną stroną życia kierować. Nie dziw, że pod jej zarządem nasze sprawy finansowe, przedtem już zagmatwane nieco, powikłały się do tego stopnia, że jak w ostatnim liście pisała mi matka, można było po stanowczej likwidacyi spodziewać się w najlepszym razie ocalenia niewielkiej tylko sumy, która podzielona między troje rodzeństwa i matkę, nie zapewniłaby żadnemu z nas takiego stanowiska w świecie, na jakie przywykliśmy liczyć od dzieciństwa.

Byłoby to okropne dla mnie, gdybym podzielał był obawy wyrażone w tym liście. Domyślałem się jednak, że matka fałszywie ocenia położenie i w zbyt czarnych maluje je barwach. Byłem przekonany, że gdy raz męzka ręka ujmie ster interesów, rzeczy inny zupełnie obrót przybiorą. Przytem przed kilkoma dniami właśnie otrzymałem świetną propozycyę od sąsiada naszego, barona von Walterskirchen, którego dom był jednym z najprzyjemniejszych w Berlinie i gdzie byłem częstym i szczególnie uprzejmie przyjmowanym gościem.

Baron kupił przed niedawnym czasem niewielki majątek w naszem sąsiedztwie, ale nie odpowiadało to widać jeszcze jego wymaganiom, bo kiedyś zabrawszy mnie do swego gabinetu, przy likierach i czarnej kawie wyjawił mi życzenie nabycia pewnej części lub całości naszych dóbr.

Przypuszczalna cena, którą wymienił wtedy, tak dalece przewyższała najśmielsze oczekiwania matki, że uśmiechałem się mimowoli, czytając jej rozpaczliwy list. Sprzedam Olszowę ze wszystkiemi przyległościami baronowi i przetnę kwestyę jednem cięciem — myślałem. Wówczas jednak nie dałem baronowi żadnej stanowczej odpowiedzi, tłomacząc się koniecznością porozumienia z rodziną i zapoznania ze stanem interesów. Przyznał mi zupełną słuszność, nie nalegał, wyraził tylko nadzieję, że na wsi, dokąd zamierzał z całym domem wyjechać, stosunki nasze zacieśnią się jeszcze bardziej, a może i interes da doprowadzić do końca. Baron miał dwie prześliczne córki i piękniejszą od nich synowicę, która po matce, Hiszpance, odziedziczyła najpiękniejsze oczy czarne, jakie widziałem w życiu, a po swoich babkach germańskich kaskadę jasno-blond włosów. Od kilku miesięcy zostawałem pod urokiem pięknej panny, to też nadzieja częstych i poufałych stosunków sąsiedzkich, czyniła mnie niewymownie szczęśliwym. Z biciem serca oczekiwałem chwili wyjazdu na wieś i już sama radość z tego niespodziewanego zbliżenia nie pozwalała mi brać do serca trwożnych przeczuć matki.

Nareszcie znalazłem się w Olszowej i kiedy przyszło do rozmowy o interesach, wystąpiłem tryumfujący z propozycyą barona, sądząc, że tym sposobem rozjaśnię natychmiast stroskaną twarz mojej matki. Tymczasem wbrew wszelkim oczekiwaniom trafiłem na opór, który wydał mi się wprost niezrozumiałym. Matka nie chciała sprzedać Olszowej, a zwłaszcza nie chciała sprzedać jej baronowi. Przyszło między nami do głębszej, poważniejszej rozmowy i ku zdumieniu mojemu dowiedziałem się, że dobra, łagodna matka nasza pod powłoką słodyczy i marzycielstwa żywi mnóstwo najosobliwszych niechęci i uprzedzeń, które wydały mi się wprost anachronizmem, dziwactwem jakiemś zabawnem, dziecinnem nawet, a niewłaściwem zupełnie dla osoby na jej stanowisku.

Z sióstr moich, starszych odemnie o lat parę, jedna nie miała zupełnie własnego zdania, druga popierała idee matki z wielką żywością i zapałem. Byłem sam wobec nich.

Matkę kochałem szczerze i serdecznie, ale na tym punkcie zrozumieć jej nie mogłem. Rzeczy pozostały tedy w zawieszeniu, a ja żywiąc tajemną nadzieję, że okoliczności same niezadługo przyjdą mi z pomocą, nalegać już tylko zacząłem o zawiązanie stosunków sąsiedzkich z Leśną (tak nazywał się majątek barona). Ale i tu spotkałem się z antypatyą zupełnie nieuzasadnioną.

Baron z córkami jeszcze przed mojem przybyciem złożył wizytę w Olszowej, a moje

środków, że najwyższem prawem jest sprawiedliwość, że racya stanu jest zaprzeczeniem racyi, że rządzić trzeba, jednocząc, nie zaś dzieląc; że prawo silnego jest raczej prawem wilków, niż ludzi itd. Podobnie, jak wiedza bez sumienia jest, podług Rabelaisa, ruiną dusz, tak też i polityka bez moralności, zdaniem Proala, jest ruiną społeczeństw.

St. Hł.

Z estrady i sceny.

(Nowe siły w „Mazepie“.)

Dziwnych wrażeń doznawałem chwilowo na wtorkowem przedstawieniu, — pierwszym znaku życia nowego sezonu. Zdaje mi się, że podobne uczucia budzić się muszą w pedagogu, który legią wychowańców swoich z maturą w ręku wysłał w świat daleki i widzi przed sobą nowych młodzieniaszków wstępujących nieśmiało do przybytku wiedzy, zkąd po latach kilku z patentem w kieszeni znów między obcych ludzi, do obcych grodów ulecą. Nie od dzisiaj to teatr poznański zjednał sobie miano szkoły dramatycznej; bywają w tym teatrze chwile, w których przed publicznością staje materyał zupełnie surowy, gdzie wszystko rwie się i haczy, gdzie lekcya płynie nieśmiało z grymasami ambarasu na twarzy i z nieznośną muzyką fałszywych form i akcentów. To pierwszy rok nauki, pierwsze kroki niewprawnych studentów. Lecz lata płyną, egzamin dojrzałości się zbliża i ta garstka szkolarzy staje przed nami coraz śmielsza, coraz więcej uszlachetniona, coraz bliższa patentu. Wtedy to szkoła dramatyczna zamienia się nieomal w teatr, wtedy to scena poznańska miewa momenty względnej przynajmniej świetności i staje na wyżynach sztuki. Dwa takie okresy wielu z nas w świeżej jeszcze zachowuje pamięci, — obecnie wstępujemy w okres nowy i nowych witamy wychowańców.

Żal mi ubiegłego sezonu. Wykarmiliśmy sobie kilka talentów prawdziwych, uzbroiliśmy w rutynę kilka sił pożytecznych i to wszystko gdzieś się rozproszyło na cztery strony świata. Żałuję w pierwszym rzędzie Sosnowskiego, bo były tam takie iskry i ognie, jakie na scenach polskich gdzieniegdzie tylko się palą, — żałuję Trapszów, panny Zimajer i p. Rapackiego, bo tworzyli nieraz ensemble koncertowy, u nas dojrzewali, u nas wyszlachetnili zdolności swoje, — żal mi i p. Wróblewskiej, bo lubo jest to talent o wązkiej oktawie, ale artystka ta nabyła przynajmniej surogat talentu: niepospolitą rutynę. Na tem wspomnieniu zamykam akta przeszłości i wracam do wtorkowego przedstawienia.

Sformułowanie sądu o nowych siłach z jednego występu jest z dwóch powodów i trudnem i ryzykownem zadaniem. Stawać przed cudzą, często do dawnych artystów przywiązaną a więc do nowych uprzedzoną publicznością, ruszać się na scenie obcej, wśród obcych kątów, kulis i sprzętów, mówić wreszcie wśród warunków nieznanej akustyki, to więzy pętające swobodę gry, przyczyna wielu wrażeń fałszywych płynących ku nam ze sceny. Nadto krytyk liczyć się musi z jedną jeszcze ewentualnością, powodującą nieraz sąd błędny o nowych siłach scenicznych. Każdy z artystów bowiem przynosi z sobą w świat kulis jedną lub kilka ról wystudyowanych mozolnie pod okiem mistrzów. Wszystko tam jest produktem szkolnej gimnastyki, obejmującej ciasny obszar nielicznych kreacyi, wszystko jest naśladownictwem lub dokładną tresurą. Ztąd zdarza się nieraz, że „nowa siła“ błyśnie na scenie w tej lub owej roli pozornem mistrzostwem, ale jest to tryumf krótki, zwykle tylko jednorazowy. Z tą samą chwilą bowiem, gdy z sceny schodzi wyćwiczona pod komendą profesora rola i artysta tworzyć musi samoistnie, — występuje na jaw niejednokrotnie zupełna bezsiła i w dym się rozwiewa złudzenie talentu. O talencie rozstrzygać może tylko oryginalne tworzenie i dla tego zapatrzonemu w pierwszy debiut artysty krytykowi zapominać nie wolno nigdy, że mistrzostwo bywa często pozorem, że dopiero kilka prób ogniowych sąd wydać pozwala stanowczy o zasobach artyzmu właściwych debiutantowi.

Lękam się, czy wtorkowy Mazepa, p. *Wostrowski,* nie jest taką łapką dla recenzentów i publiczności. Gra jego — pomijając kilka błędnych akcentów — zdradzała od początku do końca prawdziwie artystyczne wykończenie. Była tam i fantazya kozacka i swoboda syna szerokiego stepu i rycerskość butna i jakaś słoneczność półdziecięca rozgrzeszająca winy Donżuana. I było tam więcej jeszcze. Ten Mazepa wtorkowy mienił się jak turnie tatrzańskie w mgieł lotnych opończy.

Cała gama tonów tej kreacyi dramatycznej dźwięczała czysto, bez fałszu i ambarasu. Grał jak skrzypek wprawny, którego smyczek łączy z przedziwną łatwością różnorodność dźwięków, przechodzi z aksamitu melodyi w pląs żywy i lotny, z pieściwej nuty w akord rozgłośny i szeroki lub grom. Nigdzie nie widziałem chwiejności, nigdzie lęku debiutanta, i dla tego właśnie ta rola budzi we mnie podejrzenia pewne. Pan Wostrowski jest podobno uczniem Kwiecińskiego, jednego z najlepszych reżyserów i kierowników teatralnych. Opowiadano o nim, że urabiał nieraz miesiącami całemi artystę, a gdy na generalnej próbie jeden ton fałszywy uchwycił, usuwał sztukę z repertuaru i nową rozpoczynał tresurę. Każdy z uczniów tej szkoły posiada zatem pewną ilość ról wyrzeźbionych ręką Kwiecińskiego, — a ta przerażająca u początkującego artysty pewność i dokładność, którą objawiła gra wtorkowego Mazepy, nasuwa pytanie, czy tryumf p. Wostrowskiego nie jest produktem mozolnej pedagogii, zastosowanej do jednej, wyjątkowej roli, — czy ten artysta z Mazepy nie okaże się debiutantem tam, gdzie zmuszonym będzie tworzyć oryginalnie.

Wręcz odmienne wrażenie wywarła nowa bohaterka sceny poznańskiej p. *Paszkowska.* Każdy ruch, każde drgnienie fizyognomii tej młodej artystki mówiły wyraźnie, że to ptak, któremu jeszcze skrzydła do lotu nie urosły. Panna Paszkowska była cała jak żywy ambaras na scenie. Oczy jej błyszczały niespokojnie, ręce szukały z nerwową trwogą właściwej pozycyi, figura właściwego układu. I w słowach drgała chwilami ta nuta, o której ludzie mówią, że coś gardło ściska; czasami słowa biegły zdyszane, czasem coś uwięzło w ustach, czasem jakiś dźwięk nienaturalny lub mimowoli stłumiony zabrzmiał na scenie, — a mimo to nad grą tą surową i twardą lśni wróżba jasnej przyszłości. Znam mało artystek posiadających tak wyjątkowo szczęśliwe warunki zewnętrzne: Kształty rzadkiej piękności, oczy pełne wyrazu i głos altowy o brzmieniu pełnem i silnem, — rysy tylko trochę nieruchome, jakby zamarzłe.

O ile mi się zdaje, posiada nadto p. Paszkowska prawdziwy temperament dramatyczny. W grze jej było kilka momentów — mówię tu mianowicie o scenie więziennej — w których artystka zapominała o lornetkach, wycelowanych w „nową bohaterkę“, i porwana rolą wyrzucała potoki słów z takiem uniesieniem i przejęciem, że publiczność czuła krew kipiącą w jej żyłach. Tych dźwięków szczerych usłyszymy z czasem

---

panie dotąd nie mogły zdecydować się na oddanie im odwiedzin. Zabolało mnie to do żywego, oburzyło nawet. Nie dziw! Jasne włosy i czarne oczy Emmy Mercedes magnetycznym urokiem ciągnęły mnie ku sobie.

Okoliczności, na których pomoc liczyłem tak wiele, niedługo kazały czekać na siebie.

Dzień po dniu spadały na nas ciosy dotkliwe w formie mniej lub więcej grzecznych listów z prośbą o zwrot sum hipotecznych, pozwów, zawiadomień urzędowych i t. p. Fortuna nasza po jakiejś fatalnej pochyłości staczała się widocznie bardzo szybko ku ostatecznej ruinie.

Zauważyłem, że każdy otrzymany list, każdy papier z urzędową pieczęcią wywoływały na usta matki przykre, nerwowe drżenie. Codzień też pogłębiały się cienie pod jej smutnemi oczami i wyraźniej zarysowywała zmarszczka na bladem, niegdyś tak pięknem czole. Milczała jednak, ale chwilami spotykałem w oczach jej wyraz śmiertelnego niepokoju i ciężkiej, duchowej rozterki. Ja milczałem również, nie dotykając ani jednem słowem tak stanowczo odrzuconej propozycyi barona. Starsza siostra chodziła między nami z podniesionem czołem, zbuntowana wyraźnie tak przeciw spokojnej obojętności mojej, jak i przeciw bezradnemu smutkowi matki. Młodsza, zalękniona, niepojmująca dobrze, o co chodzi, nie śmiała ani jednem słowem przerwać panującej między nami ciszy. I tak rodzinna atmosfera nasza stawała się coraz cięższą.

Nareszcie, gdy chwila wydała mi się odpowiednią, napomknąłem niby od niechcenia, że ze względu na piękną, stałą pogodę dobrze byłoby może złożyć w tych dniach wizytę w Leśnej. Na to matka spuściła oczy i coś jakby rumieniec wstydu przemknął po jej zmęczonej twarzy, ale odpowiedziała cichym głosem:

— Dobrze, dziś po południu możemy jechać.

Siostry milczały obydwie.

W kilka godzin potem wyświeżony, modny stałem przed wielkiem zwierciadłem w salonie, pokręcając czarny wąsik, który w tym roku właśnie bujniej jakoś porastać mi zaczął. Krótki przegląd całej mojej postaci zadowolnił mnie w zupełności. Wydałem się sobie bardzo przystojnym chłopcem. Z Emmą stanowilibyśmy cudownie dobraną parę, uśmiechnęła mi się myśl. I natychmiast zacząłem wyobrażać sobie obok siebie siostrzenicę barona, wysmukłą, śnieżną, z dumnie podniesioną główką, z falą jasnych włosów spływającą ku ziemi. Wyobraźnia moja pokazała mi ją jak żywą. Rozmarzony przymknąłem oczy i uczułem nagle, że te złote włosy owijają mi się koło szyi, dotykają mnie, pieszczą... Zrobiło mi się gorąco, potem dreszcz dziwny przeszedł od stóp do głów, drgnąłem, otworzyłem oczy...

Emmy nie było. Za to w głębi zwierciadła, z poza portyery zdobiącej drzwi sąsiedniego gabinetu, wychylała się inna twarzyczka kobieca. Starsza siostra moja spoglądała na mnie z jakimś drwiącym, pogardliwym uśmiechem na ustach. Obrażony odwróciłem głowę, ale naprawdę nie zobaczyłem nic. Tylko czerwona portyera drgała lekko. I dotąd nie wiem, czy złudzeniem, czy rzeczywistością była ta twarz patrząca na mnie z wyrazem, którego nie przebaczyłbym nikomu.

— Proszę jaśnie pana! — dał się słyszeć w tej chwili głos służącego.

— Dobrze, dobrze! Już idę.

Zbiegłem ze wschodów i wskoczyłem do powozu, w którym czekała na mnie matka z siostrami.

Dzień był gorący, w powietrzu senna cisza. Nad głowami naszemi ani jeden obłoczek nie snuł się po błękicie nieba, ale od południa u samych granic widnokręgu podnosiła się gęsta, czarna chmura.

Wjechaliśmy na drogę, pośród pól. Wietrzyk zaleciał leciutki i wszystkie zboża falą złotą, srebrną lub zieloną powiały ku nam. Powóz toczył się dalej, a ja zapomniałem powoli gdzie i po co jedziemy. Wszystkie moje nadzieje, pożądania dawne, myśli wszystkie ucichły naraz we mnie. Wzięły mnie w moc swoją bezbrzeżne płaszczyzny naszych pól i niby senny patrzyłem na nie, i niby senny czułem, że kołysze mnie ruchoma fala zbóż.

Skręciliśmy w las i ujrzałem przed sobą chmurę, która coraz wyżej i wyżej wznosiła się ponad horyzont. Czarna, groźna szła z daleka, niosła w łonie swojem jakieś tajemnice i powoli zbliżała się ku nam. Nie mogłem oczu od niej oderwać.

— Będzie burza — rzekła matka.

— Będzie burza — powtórzyły po chwili obydwie siostry.

Słowa ich zadzwoniły mi w uszach, jak gdyby wiatr przyniósł je zkądciś, z daleka. Prawie nie zrozumiałem ich znaczenia. Coś dziwnego działo się ze mną. Chmura tymczasem zakryła już słońce. Mrok szary padł na ziemię, a w mroku tym ciemne głębie puszczy

więcej niezawodnie, a spragnieni ich jesteśmy bardzo, bo na scenie naszej królowała długo zimna i szczudłowa patetyczność.

Nic więcej prócz słowa nadziei nie mogę również wysłać pod adresem p. *Grabowieckiego.* Jego Zbigniew miał chwile ślicznej deklamacyi, ale niemało wody upłynie, zanim ten deklamator zmieni się w artystę. Dziś jest to materyał tak surowy, że wystąpienie jego popsuło mi całego Słowackiego. Pan Grabowiecki sili się, aby „grać“ (tak mówią za kulisami), ale właśnie ten rozpaczliwy wysiłek wykrzywił całą postać, zabijając do szczętu wszystkie cechy naturalności, które poeta tej Byronowskiej postaci pozostawił. Jak ten Zbigniew przykładał rękę do piersi, jak się za głowę chwytał, jak oczami krążył i gdzieś z głębin żołądka głosu wydobywał, — wszystko to cechuje nietylko szkolną robótkę, ale i grę spaczoną może na wzorach małomiejskich, grę, o której Niemiec mówi, że „zrywa kulisy“. A szkoda! Bo materyał to niezły, a lubo surowy jeszcze, już wykrzywiony.

Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(Szczęśliwa Galicya. — Praktyki wyborcze. — Handel głosami. — Wybryki w teatrze.)

Dziwne to Eldorado galicyjskiego samorządu i galicyjskiej wolności! Ludzie z Królestwa i Poznańskiego lubią najczulsze westchnienia słać „tej najszczęśliwszej z ojczystych krain“ a niezmienny okrzyk: „Gdyby u nas tak było!“ brzmi w pianach i fortach, largach i appasionatach narodowych. Gdyby u nas tak było! Prawda! Mają swoje szkoły i swoje urzędy! Miłem jest dla ucha poznańskiego turysty, gdy z świstem lokomotywy miesza się okrzyk „Jazda“ zamiast krzyżackiego „Fertig“. Nikt tam pieśni polskiej nie zdusi, nikt w mózgi dziecka nie wbija ćwieków niemieckich. I czcić u nich wolno pamiątki narodu i polskiem słowem polskie serce weselić. I mają tam sejm polski i polskich profesorów, i białe orły na bramach, ścianach i sufitach i mają swoje wystawy i swoich Sapiehów — no! i żydów hałaciarzy i nędzę galicyjską i austryacki patryotyzm i Lysistratę w teatrze i wiele innych czarodziejskich skarbów, a przedewszystkiem — galicyjską sprawiedliwość.

Ta pani jest zaiste oryginalnem stworzeniem, czemś w rodzaju prostytutki arystokratycznej, rzucającej najczulsze spojrzenie i najsłodsze bakalie miłości złotym i pozłacanym rycerzom prawomyślności, a dla „hołoty“ nie mającej nic krom pogardy. Podwoje zamkowe tej niezałującej nigdy Magdaleny stoją otworem dla milionerów bez korony albo bankrutów z koroną, lecz i ci tracą natychmiast względy i pieszczoty czarującej „Kamelii“, gdy przypadkowo — co zresztą rzadko się zdarza, — dziejowe prądy ich skarby lub herby na czerwono zabarwią. Lojalna arystokratka gardzi czerwienią, bo to kolor gminu, kolor głodnego motłochu, którego wrzask drażni delikatne nerwy. Więc ułożona do snu lubieżnego na otomanie miękkiej pieści się delikatnym włosem a częściej łysiną mężów „ładu i porządku“, a dla malkontentów społecznych ma tylko wydęte wargi: C o m m u n!

Ale ten gmin pospolity, ta „zgraja burzycieli“ galicyjskiego d o l c e f a r n i e n t e jakoś dziwnie shardziała w ostatnich czasach i coraz zuchwalej trzęsie filarami zgniłego samorządu i coraz głośniej brzmi okrzyk ponury, że władze nie warstwie jednej lecz narodowi służyć powinny. A krzyk ten miesza się z orkiestrą skłóconych dźwięków wyborczych, z klątwami komisarzy, starostów i żandarmów gnających lud nieposłuszny do obozu lojalnych senatorów, z groźbami biskupów wyklinających ewangelistów nowego życia i nowych idei, z zapachem wódki i historycznej kiełbasy rzucanych między tłum ciemny a tysiącami głosów kupionych niosący zwycięztwo. Dziwne, przedziwne stosunki! Czytając lament dzienników, czytając skargi płynące z wszystkich stron Galicyi do redakcyi pism demokratycznych, i uwierzyć trudno i wstyd duszę ogarnia i ból. Tam żandarmi odstawiają niemiłego mówcę za bramy miasta, tam podstępem zamykają niebezpiecznego ludowca w biurze starostwa i tamują drogę do zgromadzonych wyborców, w innem znów miejscu rozwiązują zebranie przedwyborcze, gdy głos większości zwiastuje zwycięztwo ludowego stronnictwa, tu wreszcie komisarz i wójt przekupiony objeżdża chłopów i straszy ich wszelkiemi mękami policyjnego piekła, gdyby na „swego“ głosy oddać mieli. A ot! jeszcze jeden przykład najświeższego stempla. W pewnej wioszczynie zapowiedziano urzędowo zgromadzenie bez ściślejszego oznaczenia miejsca i godziny. Lud schodzi się, błądzi po drogach i czeka. Około południa zajeżdża pan starosta, wysiada kilka set kroków przed wioską i cichuteńko tylnemi drzwiami wkrada się do karczmy żydowskiej. Tu z alkierza wychodzi organista, dwóch żandarmów i 3 przekupionych chłopów, ukrytych od rana w mieszkaniu karczmarza. Starosta natychmiast zagaja zebranie i 6 wiernych Janczarów zatwierdza oczywiście jednogłośnie rządową kandydaturę. W pięciu minutach wszystko odbyło się „ładem i porządkiem“, w pięciu minutach okrzyknięto kandydata i z miną tryumfujących Cezarów opuszczono karczmę. Lud ujrzał starostę, więc ciśnie się zewsząd i pyta o miejsce zgromadzenia. „Wszystko skończone — odpowiada głos urzędowy, — idźcie do domów waszych, pilnujcie pługa i śpijcie spokojnie, bo opatrzność nasza czuwa nad dolą waszą“. O! konstytucyo! o wolności galicyjska! o sprawiedliwości starostów! jakże dumnym powinien być wiek XIX, że w dziejach swoich zapisać może tak promienne zdobycze!

Cała Galicya jest dzisiaj jak targowisko wielkie, — giełda mandatów. Hej! kto da więcej? Tam tysiąc głosów czeka na kupca. Sto guldenów, dwieście, trzysta, licytujcie panowie! Bez znacznych ofiar pieniężnych dziś nikt w Galicyi posłem nie zostaje, a najszlachetniejsi i najrozumniejsi rzucają nieraz smutne słowo przyjaciołom swoim: „Kandydować nie mogę, bo pieniędzy nie mam“. A gdy tak huczy ta giełdowa wrzawa, gdy gulden, wódka i kiełbasa hula bez maski na zebraniach wyborczych, gdy Judaszowych srebrników słychać brzęk złowrogi, podnosi się nagle włościanin z Wadowic — Styka nazwisko jego, — i wzywa szlachetniejszych braci do składki na mszą św. z tą intencyą, „a b y w s z e l k i e c y g a ń s t w a, p r z e k u p s t w a i z ł e p o d s z e p t y B ó g o d l u d u o d w r ó c i ł“. Jakaż to straszna ironia dźwięczy w tych słowach uczciwego chłopa! Jakiż to policzek dla tych, którzy niosą zarazę po kraju, deprawują lud, depcą nogami konstytucyę, równość i uczciwość. Lecz rząd spogląda na targowisko wyborcze z uśmiechem rozkoszy i drwi z mszy świętej, chłopskim zakupionej groszem.

Kto wie, czy i nam nie wypadnie na podobną intencyę mszy św. zakupić, gdy zbliżą się nowe wybory do sejmu i parlamentu, bo lubo demoralizacya polityczna tak rażących nie przybrała jeszcze rozmiarów w pruskim zaborze, to przecież byliśmy w ubiegłym roku świadkami wstrętnych manipulacyi „ładu i porządku“, który tam, gdzie nie mógł zwyciężyć, umiał dusić przeciwników! Dziś jednak przestrzeń daleka dzieli nas jeszcze od nowych zapasów i cisza wielka w kraju i dziennikach. Przebrzmiały

---

nabrały większej jeszcze tajemniczości. Wyjechaliśmy wreszcie z lasu, spojrzałem dokoła i niebo całe wydało mi się zasnute chmurami. W tej chwili matka powiedziała do mnie coś, czego nie pamiętam, bo spojrzawszy nagle przed siebie, zobaczyłem wysuwające się z lasu dziwne jakieś postacie, o niepewnych kształtach, wielkie... mgliste... szare.

Wpatrywałem się w nie całą siłą spojrzeń i dostrzegłem, że to byli wojownicy na koniach, wielkoludy na koniach — olbrzymach... Coraz więcej wynurzało się ich z lasu i z tententem kopyt powoli jechali naprzód. Poznałem. To byli rycerze, moi rycerze, moi z dawno nieśnionych dni mego dzieciństwa!

Strach mnie ogarnął niepojęty, a oni rośli wciąż przedemną, coraz wyżsi, coraz potężniejsi... Olbrzymie widma! Niby z lasu, i niby z chmury tej wychodzili czarnej i z brzękiem zbroi, z szumem skrzydeł szli ku mnie. Zbrojne duchy przeszłości! I było mi straszno i dziwno. Szedł na mnie od nich pradziadowych dni wiew, prastarych czasów odzywały się echa i surm bojowych w powietrzu drgał dźwięk. A oni zbliżali się coraz bardziej i przerażony patrzyłem w oblicza umarłych... Sen grobowy leżał im na twarzach, na oczach przyćmionych mgłą. Naraz podnieśli ciężkie powieki i umarłemi oczami spojrzeli mi w twarz... Krzyknąłem i nie wiem, co działo się dalej, bo ciemność zupełna ogarnęła mnie nagle.

Zemdlałem podobno, a matka przestraszona śród błyskawic i grzmotów zawrócić kazała ku domowi.

Zaledwo rozproszyła się ciemność, co niespodzianie spadła mi na duszę, z głębin pamięci wysunęły się znowu tajemnicze widziadła, stanęły przedemną i przed żadnem zaklęciem ustąpić nie chciały.

Wpatrywały się we mnie tym samym wzrokiem mogilnym, a ja wiłem się pod ich spojrzeniem. Czego chciały, czego chciały odemnie widziadła!! Klękałem przed niemi i modliłem się, wtedy bladły i oddalały się niby, a potem wracały znowu i topiły mi w duszy straszne, zagadkowe spojrzenie. Uciekałem, sił mi brakło, padałem i rozpaczliwym głosem wołałem o pomoc. Czasami zamykałem oczy, ale i z zamkniętemi oczami widziałem ich przed sobą. To znowu chwilami nikły rumaki, nikły postacie olbrzymie, ale to spojrzenie ich pełne tajemnic i klątw i skarg niezrozumiałych jak ciężar czułem na sobie. Z otwartych mogił, rozproszonych po polach, patrzyli na mnie umarli. Rzucałem się, krzyczałem głośno, pytałem, czego chcą odemnie?! Ale oni milczeli, tylko wzrok ich utkwiony we mnie, mówił mi o rzeczach dziwnych, i nowych, i strasznych...

Nie wiem, jak długo szamotałem się z nimi w ten sposób, aż nareszcie jednej nocy pod blaskiem posępnym ich spojrzeń rozdarła się zasłona, kryjąca przed duszą moją nieznane dotąd światy. Zrozumiałem, zrozumiałem ich nakoniec. I wtedy uspokajać się zacząłem, a oni bledli mi w oczach coraz bardziej przejrzyści, powietrzni, coraz niklejsi, aż rozsnuli się we mgły poranne.

Po raz pierwszy od wielu dni zapewne przytomnym wzrokiem spojrzałem dokoła i zamiast tajemniczych, rycerskich postaci ujrzałem zwykłe otoczenie moje, pokój mój sypialny, a przy łóżku siostrę starszą czuwającą nademną. Zrozumiałem, że musiałem być chory. Spojrzałem na jej twarz smutną, znużoną, pobladłą i pierwszy raz poczułem się naprawdę bratem tej kobiety o tyle dojrzalszej odemnie.

— Julio — szepnąłem, gdy pochyliła się ku mnie. — Julio, wiesz, baron nie zabierze już Olszowej.

Spojrzała mi w oczy swoim jasnym, rozumnym wzrokiem, i jak gdyby jej wszystko wiadomem było nie zapytała o nic, tylko zaczęła dłonią chłodną, miękką gładzić moje włosy i pieścić mnie i tulić jak dziecko. A mnie pod tem dotknięciem szczęście jakieś, jakaś radość nieznana wstępowały do duszy. Spokojny, po burzach i szamotaniach gorączkowych, uciszony jak dziecko po płaczu, usnąłem.

W kilka dni byłem już zdrów zupełnie, ale wstałem człowiekiem nowym.

* * *

Olszowa dotąd moja. Przed napaściami wierzycieli, przed pożądliwością Niemca i przed samym sobą potrafiłem ją obronić.

Jak dawniej kołyszą się na niej szumiące fale zbóż i jak dawniej przez pola jej przeciągają zapewne wybranym tylko oczom widzialne duchy poległych rycerzy.

hałasy namiętnych bojów, umilkły gwary wystawy, ucichły wiwaty na Galicyan i Górnoślązaków, i tylko teatr rozbrzmiewa w niedziele i „tanie wtorki“ wrzawą, gwizdaniem i dowcipami ulicy. Jest to istotnie sympatycznem zjawiskiem, że teatr nasz się demokratyzuje, że sztuka nęcić zaczyna te szare tłumy z przedmieść poznańskich, które po całodzieenej pracy zamiast do szynku spieszą do przybytku muzy narodowej, lecz dla artystów i dojrzalszej inteligencyi męczarnią bywają nasze przedstawienia „ludowe“. Nie mówię już o pauzach, wypełnionych wrzaskiem i głośnemi kłótniami lub tłustemi dowcipami clownów z galeryi i parteru gimnazyalnego, ale pragnąłbym przynajmniej tamę położyć przerywaniu sztuki niesmacznemi komentarzami. Gdy w najdramatyczniejszych sytuacyach rozlega się z paradyzowych wyżyn okrzyk donośny: „Dzień dobry wujaszku“, gdy parter wita artystkę wstępującą na scenę słowami: „A pójdziesz!“, to teatr zamienia się w kantynę lub jakieś trzeciorzędne „Moulin rouge“, gdzie pobyt dla wytworniejszej publiczności staje się nieznośnym, a nieprzyzwyczajeni do poznańskiej estetyki artyści tracą równowagę lub lekceważą grę przed bohaterami ulicy. Tu pisma ludowe bezwarunkowo głos podnieść powinny i energiczną lekcyą stłumić to panoszące się coraz więcej rozluźnienie wszystkich karbów przyzwoitości, bo w przeciwnym razie przedstawienia wtorkowe i niedzielne staną się postrachem nietylko inteligencyi, ale wszystkich ludzi, obdarzonych chociaż odrobiną smaku i artyzmu. Co do mnie, to największy żal czuję do młodzieży gimnazyalnej, uczestniczącej w popisach rozpasanej łobuzeryi, lub zdradzającej najniestosowniejszemi eksplozyami śmiechu litości godną niedojrzałość umysłową. I ja pamiętam te czasy, gdy zduszony jak arkusz papieru w prasie parterowej, wyrażałem głośnemi okrzykami i frenetycznemi oklaskami sympatye swoje dla artystów, i ja pamiętam te chwile, gdy na parterze gimnazyalnym walczyły z sobą o lepsze grzmiące brawa dwóch wrogich sobie obozów, z których jeden wołał „Bissen!“ a drugi „Pankiewicz!“, ale z tego studenckiego zakątka teatru nie leciały nigdy ku scenie brutalne żarty, zdradzające charakter uliczników, i śmiech homeryczny nie witał Wojewodę z Mazepy, gdy z trumną na ramieniu wstępował na scenę. Starsi czuwali nad młodszymi, a jeżeli zdarzył się istotnie wybryk zuchwalszy, to znalazła się z pewnością młodzież dojrzalsza, powołująca do porządku niesfornych kolegów. Dawniej parter gimnazyalny miał może opinię klakierów, dziś jest plagą i postrachem publiczności.

Dla nas Poznańczyków, dla których teatr jest nietylko jedyną nieomal rozrywką, lecz szkołą narodową o doniosłem znaczeniu, reforma tych nieznośnych stosunków jest istotnie kwestyą palącą, a dyrekcya z swej strony mogłaby się przyczynić do poskromienia hałasów, gdyby dzieciom niżej lat 8 mniej więcej odmówiła wstępu. Dziś całe rodziny z niemowlętami nawet zasiadają galerye, a ztąd teatr zamienia się nieraz w popisy wrzasku i pisku dziecięcego. Ile na tem traci starsza publiczność, wrażenie sztuki, gra artystów, tego chyba tłomaczyć nie potrzebuję. Usuńcie zatem dzieci z teatru lub zaopatrzcie galerye i loże drugiego piętra — w tytki z karmelkami i flaszeczki z mlekiem.

Sulla.

Wolne głosy.

.W sprawie mileszewskiej.

Od pana mecenasa Wyczyńskiego z Brodnicy odbieramy z prośbą o umieszczenie pismo następujące:

„Obrażająca w najwyższym stopniu dla mnie wzmianka w nr. 200 „Gońca Wielkop.“ z dnia 1 września — numer ten doszedł mnie dopiero dzisiaj — zmusza mnie, pomimo tylokrotnych oćwiadczeń z mej strony, do powrócenia raz jeszcze do sprawy mileszewskiej. W numerze owym „Gońca Wielkopolskiego“ powiedziano:

„Pan mecenas Wyczyński, zawiniwszy o tyle, że pohopnie z początku Niemca do Mileszew wprowadził, ocknął się jednak, dowiedziawszy się, że p. Starck jest kolonizatorem, a poświęciwszy prowizyę, zrobił zwrot stanowczy i t. d.“

Tych kilka słów przewyższa wszystko, co w tym względzie napisano.

To zaczepianie mnie, to zmyślanie i przekręcanie faktów jest tem charakterystyczniejsze, że autor lub autorzy tych oszczerstw nie podają swych nazwisk, lecz obawiając pociągnięcia ich do odpowiedzialności, zastawiają się redakcyą

Pod względem faktycznym oświadczam:

1) Pana Starcka wogóle do Mileszew nie sprowadzałem. Wymieniłem spadkobiercom p. St. jako reflektanta na Mileszewy — i na tem koniec. Ani za nim nie przemawiałem, ani nie popierałem jego zamiaru kupienia Mileszew.

Jak można fakt tak prosty jak „wymienienie“ p. St przekręcać na „pohopne wprowadzenie“ go do Mileszew?!

Pan St. dopytywał się poprzednio u mnie o Mileszewy i z tego powodu (nie wiedząc nic o jego stosunkach z komisyą kolonizacyjną) wymieniłem go spadkobiercom. Chciałbym wiedzieć, co w tem zdrożnego i któryby człowiek — adwokat lub nie adwokat — nie byłby sobie tak samo postąpił. „Ocknąć“ więc nie miałem się z czego.

2) Ani prowizyi, ani innego wynagrodzenia nie przyrzekał mi nikt — ani p. Starck, ani spadkobiercy ś. p. Ignacego Łyskowskiego, ani ktokolwiekbądź inny. Od nikogo też żadnej prowizyi ani żadnego innego wynagrodzenia nie żądałem. Wogóle nigdy do nikogo o prowizyi lub jakiemkolwiekbądź wynagrodzeniu ani listownie, ani ustnie, ani wprost, ani przez trzecią osobę, ani pośrednio, ani bezpośrednio nie wspominałem, nikt też do mnie z propozycyą prowizyi lub jakiegokolwiekbądź wynagrodzenia się nie odzywał.

Jestem adwokatem a nie agentem dóbr.

Wyczyński.

Brodnica, dnia 13 września 1895.

KRONIKA LITERACKA.

† Jan Kleczyński. Z Warszawy dochodzi bolesna wiadomość. Onegdaj zmarł tamże jeden z najwybitniejszych muzyków i krytyków muzycznych polskich, Jan Kleczyński. profesor warszawskiego konserwatoryum, współredaktor „Echa muzycznego i teatralnego“. Urodzony w r. 1840 w Lublinie, po skończeniu studyów w Paryżu, jako dwudziestokilkoletni młodzieniec ukazał się po raz pierwszy tamże na estradzie koncertowej. Za numer wstępny swojego koncertu młody wirtuoz wybrał wówczas pierwszy koncert (E-moll) Chopina za towarzysza zaś instrumentalnego wystarczył mu kwintet smyczkowy. Ogarnięty atmosferą artystyczną stolicy nadsekwańskiej, zbierał młody wirtuoz skrzętnie wszelkie okruszyny i ślady tradycyi Chopinowskiej i znalazł w niej niemal zasadę swej artystycznej działalności. Zapał ten i entuzyazm dla Chopina, poparty odpowiedniem przygotowaniem technicznem, od razu zwrócił uwagę ogółu na młodego muzyka, który od tego czasu coraz wybitniejsze zaczął w polskim świecie muzycznym wyrabiać sobie stanowisko.

Postawiony pod względem wykształcenia ogólnego o wiele wyżej ponad przeciętną normę współkolegów muzycznych, obok pracy nauczycielskiej, jak zwykle mozolnej i niełatwej, wziął się Kleczyński do szermierki piórem, i wkrótce stał się jednym z wybitniejszych sprawozdawców z ruchu artystycznego. W parze z tym rodzajem działalności szło przygotowanie materyałów, dotyczących traktowania i wogóle artystycznego znaczenia dzieł Chopina. Świadczą o tem wydane następnie studya analityczne. z których niektóre ukazały się również w języku francuzkim. Owocem zamiłowania w pracy literackiej było wytworzenie specyalnego pisma poświęconego muzyce, „Echa muzycznego i teatralnego“, obejmującego już dziś wszystkie, nietylko muzyczne, łany artyzmu.

Imię Jana Kleczyńskiego wiąże się ze wszystkiemi poważniejszemi objawami pracy społecznej w zakresie sztuki muzycznej w Warszawie. Jest on jednym z założycieli „Towarzystwa muzycznego“, którego 25-letniego jubileuszu nie danem mu było doczekać. Poza pracą nauczycielską i literacką (feljetony jego drukowane były w czasopismach: „Bluszcz“, „Tygodnik Ilustrowany“, jako też w „Kuryerze Warszawskim“) Kleczyńskiemu nie brakowało energii i czasu do pracy na polu kompozytorskiem. Jest on autorem licznego szeregu utworów fortepianowych oraz wokalnych, z pośród których wiele doczekało się nietylko wydań powtórnych, ale przytem poszczycić się mogło szeroką popularnością. Lekkie, powiewne „Scherzo“ Asnyka dotychczas pozostało jedną z najulubieńszych perełek repertoaru wokalnego.

Jako pedagog wydał ś. p. Kleczyński studya techniczne w zakresie elementarnym. Najpoważniejszą jednak i najtrwalszą ozdobą jego działalności jest niewątpliwie wydanie kompletne dzieł Chopina. W opracowanie tego niespożytego bogactwa ś. p Kleczyński wlał wiedzę i doświadczenie, pracę i energię całego żywota. Nic też dziwnego, że wydanie to wyrónia się sumiennością i dalekim od pedanteryi krytycyzmem z pośród całej setki wydań współczesnych, nad któremi jaśnieją nieraz imiona pierwszorzędnego blasku.

Zgon zasłużonego pracownika osieroca profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Józefa Kleczyńskiego, który jest rodzonym bratem zmarłego.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Wybory do rady miejskiej we Wiedniu rozegrały się 18 b. m. Zwycięztwo odnieśli antisemici; stronnictwo liberalne utraciło 12 mandatów. — Sprawa byłego redaktora „Kreutz-Ztg.“ bar. Hammersteina, coraz więcej rozognia umysły. Zbiegłemu filarowi stronnictwa konserwatywnego zarzucają oprócz licznych fałszerstw wekslowych i podobnych oszustw, także zbrodnie przeciw moralności. — Otwarcie cieszyńskiego gimnazyum odroczono z przyczyn niewiadomych. — Spółka HKT. postanowiła na jednem z zebrań najświeższych działalność swoją osłonić tajemnicą i w sposób kreci prowadzić dalszą robotę. — W Niemczech od czasów ostatniej mowy cesarskiej poczęły się mnożyć procesy przeciw socyalistom i konfiskaty czasopism socyalistycznych. — Obiegają pogłoski, że ustąpi ze swego urzędu p. Herbette, ambasador francuski w Berlinie. Nie spodobał się podobno udział jego w uroczystościach kilońskich i stanowisko zajęte wobec zamiaru weteranów niemieckich złożenia wieńców na grobach poległych we Francyi żołnierzy.

* **Teatr i muzyka.** Sztuka Sawiczewskiego pod tytułem „Na bezdrożach“, premiowana drugą nagrodą na ostatnim konkursie dramatycznym, nie doznała powodzenia ani na lwowskiej ani na krakowskiej scenie. — W czwartek wystąpiły na scenie poznańskiej po raz pierwszy p. Vernon („Barkarola“) i p. Ogińska („Grube ryby“). Obie artystki zyskały sobie uznanie publiczności. — Prezesem dyrekcyi teatrów warszawskich mianowany został p. Andrejew z Petersburga. — Dyrekcya teatru krakowskiego stara się usilnie o uzyskanie aprobaty cenzury dla głośnej sztuki Halbego p. t. „Młodość“. Dotychczas władze zajmują stanowisko odporne. — W sobotę 21 b. m. wystawi teatr poznański komedyę Schonthana p. t. „Pan Senator“. Utwór ten cieszył się wielkim sukcesem kasowym tak na warszawskiej jak i na lwowskiej scenie.

Zmarli:

* **Ks. Arcybiskup Zygmunt, Szczęsny Feliński**, zm. 17 b. m. w Krakowie.

* **Jan Kleczyński**, znany krytyk muzyczny i profesor konserwatoryum, zm. 15 b. m. w Warszawie. (Patrz w „Kronice literackiej“).

Odpowiedzi Redakcyi.

O. D. w Tarnowie. Całą duszą jesteśmy z wami i gorąco pragniemy waszego zwycięztwa, ale propozycya Szan. Pani wydaje nam się niepraktyczną. Artykuł z takiego oddalenia nie odniósłby żadnego skutku, a dla czytelników naszych detaliczne wykrawki z galicyjskiej walki wyborczej nie przedstawiają większego interesu, bo i ludzie i stosunki bliższe obce są dla nich Postaramy się jednak, aby w najbliższym czasie rozwinąć ogólny obraz położenia waszego, a dzisiaj znajdzie Szan. Pani w „Przeglądzie“ kilka feljetonowych promyków, rzuconych w ciemne otchłanie galicyjskiego samorządu.

S. J. Kto jest autorem tej banalnej satyry — nie wiemy. Pretensyonalność jednak, beztaktowność i naiwność utworu wskazuje na pochodzenie z ław szkolnych niższego rzędu.

Alef. Przeprowadzenie analizy psychologicznej w nowelce pańskiej jest za mało pogłębione a kompozycya i język pozostawiają wiele do życzenia. Nie radzimy jednak odkładać pióra, bo utwór nadesłany świadczy bądź co bądź o pewnych zdolnościach literackich. Zalecamy tylko tematy i typy powieściowe czerpać z życia, nie z fantazyi i książek.

Sprostowanie.

„Przegląd Poznański“ nie jest zapisany pod literami II t. 86 a, jak mylnie podano w zeszłym numerze, lecz pod literami **II. t. 90 a**, na co zwracamy uwagę Szanownych czytelników naszych.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Mecenas Dziorobek ze Śremu 10 marek.
Ogółem dotychczas zebraliśmy 761,40 mrk.
O dalsze składki prosimy gorąco.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 39. Poznań, Niedziela 29. września 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„**Przegląd Poznański**“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 40 fen. pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Redakcya „Przeglądu Poznańskiego“ znajdować się będzie od 2-go października b. r. przy ul. św. Marcina Nr. 22.

Wybory galicyjskie.

Kraków, 23-go września.

Jesteśmy w pełnym sezonie wyścigów o mandaty poselskie do sejmu krajowego. Jak wyścigi konne, tak i te są przeważnie tylko „pańską“ zabawką. Ztąd też każdy wie z góry, że pomimo wszelkich zabiegów i starań stronnictw postępowych, umiarkowanych i radykalnych, przyszły sejm będzie miał barwę konserwatywną, bo wejdzie do niego kilkunastu panów, których otoczy szlachta i półszlachta, posłuszna na pańskie rozkazy i skinienia.

Austrya jest państwem na wskroś arystokratycznem — gdziekolwiekbądź rzucisz okiem, na każdem wybitniejszem stanowisku znajdziesz barona, księcia lub hrabiego. Nie przypominam sobie n. p. na razie, czy był kiedykolwiek prezesem ministrów austryackich jakikolwiekbądź zwykły szlachcic lub człowiek „podlejszego urodzenia“. Tworzy obecnie gabinet hr. Kazimierz Badeni i w gabinecie tym zasiadać będzie dwóch baronów, czterech hrabiów, a jeden tylko szlachetka Biliński. Jestto zaiste godne podziwienia jak w Austryi natura wysila się, aby geniuszem i talentami wyposażyć głowy jasnych panów, z uszczerbkiem naturalnie sfer szlacheckich, tak zwanych średnich i niższych. Jak w Austryi, tak samo dzieje się i w Galicyi. Z nietytułowanych jeden jedyny Zyblikiewicz dochrapał się ongi stanowiska marszałka krajowego, ale go niezadługo z niego wygryziono, pomimo. że był konserwatystą. Nie można się więc dziwić, że co rok przybywa Galicyi jakiś nowy hrabia, owszem dziwić się należy, iż przybywa ich tak mało, boć każdy stary, a nawet niekoniecznie stary szlachcic, jeżeli tylko ma pieniądze, może sobie zafundować tytuł a wraz z nim otrzymać patent na głowę genialną, a przynajmniej znakomitą, do której zwróci się naród z prośbą o przewodniczenie, a czasem nawet państwo całe z prośbą o współsternictwo jego nawą.

Dla dobra jasnych panów tak tytułowanych jak nietytułowanych wymyślono też odpowiednią organizacyą wyborczą, tak do rady państwa jak i do sejmu. Podzielono wyborców na trzy kurye: większą własność, miasta i własność mniejszą (prócz tego po jednym pośle wybierają trzy izby handlowe). Przez stworzenie kuryi wielkiej własności, zabezpieczono dla szlachty znaczną ilość mandatów, a ponieważ brat szlachcic dawno już zapomniał, że choć na zagrodzie równy jest wojewodzie, a natomiast pamięta jak mu było dobrze ongi służyć Sapiehom, Czartoryskim, Radziwiłłom, przeto magnaci śmiało na jego głos mogą liczyć. Wprawdzie z kuryi większych własności wychodzi część szlachty, ale są to albo półpankowie, którzy niezadługo przejdą do rodów utytułowanych, albo też ludzie zdolni, z panami trzymający, a więc im potrzebni. Panowie zresztą mają jeszcze drugą kuryę, która dotychczas była zawsze na ich rozkazy, a mianowicie: kuryę mniejszych posiadłości czyli krócej i właściwiej mówiąc, włościańską. Nikomu na myśl nie przychodziło, aby chłop mógł wybierać chłopa, a więc logicznie, ze znajomością stosunków, sądzono, że odda swe głosy szlachcie i magnatom. I rzeczywiście kurya ta wybierała prawie bez wyjątku tylko jasnych panów i popieraną przez nich szlachtę. Dla inteligencyi, dla przedstawicieli handlu przemysłu, pozostawiono tylko najdrobniejszą kuryę miast większych, która wybiera zaledwie 20 posłów. A i w tej kuryi niejednokrotnie udawało się przechodzić jeżeli nie wprost jaśnie panom, to przynajmniej ludziom do ich stronnictwa jawnie się zaliczającym. Ażeby zaś jaśni panowie, oraz ich główni adherenci nie stracili potrzebnych im mandatów, urządzono rzecz w ten sposób, że wybory naprzód odbywają się z kuryi miejskiej i włościańskiej, a dopiero w kilka dni później z kuryi większych własności. Ztąd, jeżeli któremu z jasnych panów lub której z osobistości im potrzebnych pośliźgnie się noga przy wyborach z dwóch pierwszych kuryi, wówczas może mieć pewność, że większa własność wybierze go i uratuje kraj od nieszczęścia, jakiem byłby brak między posłami „tak znakomitego i zasłużonego obywatela“.

Tak sztucznie skombinowana ordynacya wyborcza największą krzywdę wyrządza inteligencyi. Kiedy stu szlachty zjechawszy się w Krakowie z 9-ciu najbliższych powiatów wybiera 6-ciu posłów, inteligencya krakowska posiadająca 1800 głosów razem z 2500 wyborców ze sfer nieinteligentnych wybiera trzech posłów. Jeszcze gorszy stosunek jest w miastach takich jak Tarnów, Przemyśl, gdzie inteligencya stanowi zaledwie 1/5 część wyborców. A jeżeli należysz do inteligencyi i mieszkasz w mniejszem miasteczku, to choćbyś był doktorem wszystkich fakultetów, choćbyś był najtęższą głową w całym kraju, to nie masz jeszcze prawa oddania swego głosu, jeżeli się nie postarasz, abyś przy pra-wyborach został powołany na wyborcę. W mieście np. liczącem 5 tysięcy mieszkańców i posiadającem ze sto osób należących do inteligencyi, jest tylko dwunastu wyborców powoływanych ze wszystkich sfer miasteczka — cała więc inteligencya rozporządza 5-ma lub 6-ma głosami. Mieszkając we Lwowie, Krakowie, Tarnowie, Przemyślu itp. jesteś wyborcą zajmując posadę oficyała pocztowego, drugorzędnego urzędnika na kolei, nauczyciela ludowego lub t. p., jeżeli zaś mieszkasz w Bochni lub Wadowicach, to możesz być dyrektorem gimnazyum, prezesem sądu, a nie być wyborcą. Właściwie więc biorąc, prawo wyborcze w całej pełni służy tylko szlachcie, w gminach wiejskich mają olbrzymią przewagę chłopi, ludność małych miasteczek nic nie znaczy, a większym miastom rzucono ochłapy, o które drą się inteligencya, przemysłowcy, kupcy, rękodzielnicy, będąc zawsze na łasce żydów, którzy głosami swemi rozstrzygają wybory (trzej posłowie izb handlowych są zwykle żydami). Trudno doprawdy o większą karykaturę prawa wyborczego w państwie konstytucyjnem.

Obecne wybory nie zmienią postaci sejmu, ale są ciekawe przez wstąpienie w szranki dwóch stronnictw ludowych, jednego noszącego nazwę „stronnictwa demokratycznego“, (Lewakowski, Rewakowicz, chłop Bojko, Stapiński, chłop Orzechowski i t. d.) i drugiego, będącego niby organizacyą wyłącznie włościańską, a występującego pod firmą „Związku chłopskiego“. Zanim jednak wspomnę o wyborach ludowych, zanotować muszę, do jakiego stopnia troska o mandaty pomięszała wszelkie pojęcia, utworzyła istny Babel zapatrywań i kierunków.

Rozpoczęto naprzód walkę o prawowitość centralnego komitetu wyborczego, wybranego przez Koło sejmowe Komitet ten uznał się za jedynie prawny i żądał, aby cały kraj poddał się jego woli. Z jego rąmienia tylko mogą być zawiązywane komitety wyborcze, on tylko ma prawo zatwierdzać kandydatów, on podaje wzór zawiązywania komitów miejscowych, komi-

tety te muszą się rządzić jego regulaminem, a kto przeciw niemu wystąpi ten jest anarchistą, przeciwnikiem ładu społecznego, wyznawcą liberum veto i liberum conspiro. Z pojęciem wolności wyborów i wolności obywatelskiej zapatrywania takie nie stoją w żadnej zgodzie. Na zapytanie, kto dał mandat komitetowi centralnemu do ujęcia w ręce całej akcyi wyborczej, słyszymy zawsze stereotypową odpowiedź: powołali go do życia dawni posłowie. Ależ w takim razie komitet centralny wybrany przez byłych posłów i złożony z byłych posłów nasuwa mimowoli podejrzenie, iż jest organizacyą tych i dla tych, co chcą napowrót odzyskać wygasłe mandaty, — ależ komitet centralny wybrany przez większość konserwatywnego sejmu, jest przedstawicielem jednego tylko stronnictwa, bo choć powołano do niego kilku członków stronnictwa postępowego, to znajdują się oni w takiej mniejszości, iż żadnego wpływu decydującego na postanowienia komitetu mieć nie mogą. Jak z jednej strony nikt nie może zaprzeczyć, iż komitet centralny miał prawo zawiązać się, tak z drugiej strony równie prawowite są wszystkie inne komitety, zawiązane bez współudziału komitetu centralnego. Nie można się dziwić konserwatystom, że przez wzgląd na swoje dobro podnoszą powagę komitetu centralnego i wszelkie inne nazywają „samozwańczemi“, jak również trudno się dziwić liberałom, iż swoje komitety nazywają prawnemi a „samozwańczym“ chrzcą komitet centralny. Wszystkie te komitety razem wziąwszy są i prawne i samozwańcze zarazem: prawne, bo się zawiązały w granicach obowiązujących ustaw, a samozwańcze o tyle, iż nie powołał ich do życia ogół wyborców, lecz zawiązały je rozmaite koła i kółeczka ludzi, którzy chcą na swoją rękę kraj zbawiać, ale prawie zawsze z uboczną myślą zbawienia przedewszystkiem siebie i swego stronnictwa lub koteryi.

Kłótnie o prawowitość komitetów zajęły „czasu“ nie mało i zaczerniły sporo „atłasu“ dziennikarskiego. Rezultat ich żaden: konserwatyści poddali się komitetowi centralnemu, boć to leżało w ich interesie, inne stronnictwa dla tego samego powodu potworzyły swoje własne komitety. Z całej tej walki wypłynęło tylko kilka objawów zabawnych, stwierdzających owo pomięszanie pojęć, o których powyżej wspomniałem.

I tak n. p. Lwów nie uznał kompetencyi centralnego komitetu wyborczego. Znaczyło to, że nie przyjmie narzuconych sobie kandydatów, znaczyło, iż wyraża niezaufanie dotychczasowym swoim posłom, którzy brali udział w utworzeniu komitetu centralnego, znaczyło więc, że pragnie wybrać nowych ludzi, bo dotychczasowi są za mało demokratyczni, za zbyt powolni konserwatystom. Tymczasem nie wyłoniła się dotychczas żadna nowa kandydatura, a kandydują tylko dawni posłowie: Smolka, Romanowicz, Goldman i Michalski, z których pierwszego zwolniono nawet od złożenia sprawozdania. Niedość tego; huczne, przeciągłe oklaski towarzyszyły mowie pana Romanowicza, mowie, będącej pochwałą ubiegłej sesyi sejmowej, a więc pochwałą działania większości konserwatywnej. Ten sam pan Romanowicz, którego wybór spotykał się zawsze z gwałtowną opozycyą stronnictwa konserwatywnego, otrzymuje teraz pochwały od „Przeglądu“, organu konserwatystów i jest prawie kandydatem „rządowym“. Oświadcza się przeciw powszechnemu głosowaniu, mówi czule na temat zgody stanów, a ostro przeciw walce klas, — kiedy równocześnie „Nowa Reforma“, organ jego przyboczny, którym literalnie rządzi i do którego ostentacyjnie się przyznaje, kruszy kopie za głosowaniem powszechnem i do walki klas zagrzewa. Dla tem większej wreszcie konsekwencyi p. Romanowicz, członek centralnego komitetu sejmowego, podpisujący odezwy tegoż komitetu, dowodzące jego wyłącznej „prawności“, przybywa do Krakowa, aby brać udział w komitecie „samozwańczym“, walczącym przeciw kandydatom komitetu centralnego. I wszystko to daje się ze sobą pogodzić i p. Romanowicz nazywa się demokratą „starej daty“, jakoby ci dawni demokraci mieli w swym programie siadanie na dwóch stołkach.

A oto drugi przykładzik konsekwencyi: Stanisławów i Nowy Sącz odrzucają powagę komitetu centralnego, zrywają ugodę, zawartą z konserwatystami przez reprezentacyę miast, idą więc do boju w imię postępu, niezależności, demokracyi i t. d. i t. d. i, — stawiają jednogłośnie kandydatury... dwóch ekscelencyi: Bilińskiego i Dunajewskiego, którzy przedstawiają skrajny odłam konserwatyzmu.

W Krakowie antysemicki „Głos Narodu“ popiera kandydatury p. Chrzanowskiego i prof. Henryka Jordana, a „Czas, drukujący artykuł za artykułem przeciw antysemityzmowi, ma swoich kandydatów w osobach... prof. Jordana i p. Chrzanowskiego. Kandydat dr. Weigel, uchodzący zawsze za liberała i jako taki popierany przez „N. Reformę“, broni się na zebraniu przedwyborczem od zarzutów stawianych mu z powodów sprzeniewierzenia się programowi demokratycznemu i powołuje się na przychylną ocenę działalności lewicy sejmowej przez... „Przegląd“, organ konserwatystów. Adwokat Styczeń, należący do komitetu „mężów zaufania stronnictwa demokratycznego“, czyli krócej mówiąc do komitetu „N. Reformy“, związawszy się solidarnością, iż będzie popierał tych kandydatów, których owi „mężowie zaufania“ większością głosów wybiorą, po głosowaniu, na którem większość głosów otrzymali pp. Weigel, Rotter i Sokołowski, pozwala się stawiać jako kandydat stronnictwa „niezawisłych“ i jako taki występuje z wyznaniem swej wiary politycznej przed wyborcami.

Głośni członkowie lewicy sejmowej, okrzyczani za zdrajców demokracyi, Szczepanowski i Rutowski, biją się w piersi dowodząc, że są czystej krwi demokratami, a jednocześnie zyskują poparcie przez rząd swych kandydatur i otrzymują głosy wszystkich konserwatystów.

Z drugiej strony kandydaci ze sfer arystokratycznych i szlacheckich oświadczają, że są demokratami, jak p. Chrzanowski w Krakowie lub jak hr. Roman Potocki i inni jaśni panowie, że wstąpią do stronnictwa ludowego, reprezentowanego przez „Związek chłopski“, którego organ każdego „inteligentnika“ uważa za pasożyta, tuczącego się potem chłopskim, i wzywa do wybrania samych tylko włościan. A ci włościanie znowu, będący pod wpływem „Związku“, popierają w znacznej części kandydaturę pana Znamirowskiego, przeciw Potoczkowi, prezesowi i głowie „Związku chłopskiego“. Pan Włodek znowu, ów głośny pan Włodek, co to pierwszy podeptał powagę „jedynie prawnego“ komitetu centralnego i przeprowadził swój wybór do Rady państwa przeciw prof. Milewskiemu, kandydatowi tego komitetu, jest obecnie prezesem miejscowego komitetu bocheńskiego, utworzonego z ramienia komitetu centralnego i poucza chłopów, że nie wolno wyłamywać się z pod opieki komitetu centralnego, że solidarność narodowa wymaga, aby głosować za kandydatem przez ten komitet postawionym.

I czy patrząc na to wszystko, może widz bezstronny uwierzyć, że wybory galicyjskie odbywają się w imię zasad? Troska o mandaty, gwałtowna chęć ich zdobycia, oto cel główny i jedyny większości kandydatów, szukających karyery lub poparcia swoich interesów, ku czemu stanowisko posła sejmowego może być dogodnem. Proszę mi znaleść n. p. choćby dziesięciu konserwatystów-katolików, którzyby, ubiegając się o mandat z kuryi miejskiej lub wiejskiej, zastosowali się do listu pasterskiego, wydanego w sprawie wyborów przez biskupów galicyjskich. W liście tym czytamy wyraźnie:

„Niegodnem jest posługiwać się przekupstwem, które jest grzechem zgorszenia, jak każda przedajność wstrętną niesumiennością.

Marya Komornicka.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

WANDA (*otrząsa się z smutku, obojętnie*).
Proszę, nie czytam.

LEON (*j. w.*)
Lecz może pani nie lubisz, gdy ci przerywają smutne myśli?

WANDA (*obojętnie*).
Co to za wspaniałe dzieło „Germinal“.

LEON (*siada obok niej, roztargniony*).
A czytasz pani Zolę?...

WANDA (*lekko drwiąco*).
Może i to pana gorszy?...

LEON (*uśmiecha się z przymusem*).
Cóż znowu! To naturalne!... to jest... chciałem co innego powiedzieć...
(*Głuche, przykre milczenie.*)

WANDA (*swobodnie*).
Nie było dziś do mnie listu?...

LEON (*roztargniony*).
Nie dowiadywałem się o pocztę.
(*Milczenie.*)

LEON (*niepewnie*).
Pani droga!

WANDA (*j. w.*)
Co takiego?

LEON (*j. w.*)
Nie bądź tak obojętna?

WANDA.
Chcesz pan rozmawiać? Jestem w usposobieniu uprzejmem.

LEON (*stłumionym głosem*).
Szukałem panią wszędzie... w ogrodzie. Myślałem, że jak codzień wieczorem chodzisz po alei... Chciałem ci coś powiedzieć i zapomniałem, zastawszy cię tutaj.

WANDA.
Przypomnij pan sobie.

LEON (*j. w.*)
Przez długą chwilę stałem we drzwiach... zdawało mi się, że wyrządzę ci krzywdę, przerywając posępną zadumę.

WANDA (*z uśmiechem*).
A jednak zdobyłeś się na to.

LEON (*pochłonięty własną myślą*).
Zdawało mi się, że cię trzyma w swych szponach smutek wielki jak rozpacz. (*z prośbą*) Czy możesz mi pani powiedzieć, o czem myślałaś?...

WANDA.
Przemyślane już... niepotrzebne.

LEON (*wzburzony*).
Zasługuję na te słowa!
(*Milczenie.*)

WANDA.
Która godzina?

LEON (*szydersko*).
Bądź pani spokojną! Skompromitowaną nie będziesz.

WANDA.
Na co to niepotrzebne szyderstwo?

LEON (*gorzko*).
Prawda! Pani wyższą jesteś ponad sąd ludzki!

WANDA.
Dla czego pan wszystko zaczepiasz goryczą?

LEON.
Dla czego? Bo ona jest we mnie, w pani, w życiu całem!
(*Milczenie.*)

LEON (*hamując się.*)
Czy to prawda, co mówiła Rózia?

WANDA.
Ona często nie domyślając się, robi trafne uwagi.

LEON (*z wzrastającą prośbą*).
Czy to prawda, co powiedziała?...

Przekupstwo i przedajność zawsze i wszędzie, gdziekolwiek się pojawia, czy w sądzie, czy w urzędzie, czy przy wyborach, są w oczach ludzi obrzydliwą nieuczciwością, a wobec Boga stokroć obrzydliwszym jeszcze grzechem... Ostrzegamy wszystkich, że grzeszą przy wyborach zarówno ci, co głosy swoje sprzedają, jak i ci, co je kupują, grzeszą i ci, co biorą, i ci, co dają".

Tak mówią biskupi, a każdego kandydata katolika słowa te obowiązywać powinny, jeżeli sam nie ma w sobie na tyle pojęć etycznych, że nie jest mu wstrętną demoralizacya ludu przez przekupstwo i przedajność.

Ba, ale jak tu przejść głosami ludu bez pieniędzy, kiedy się przez ten „kochany lud" całkiem nie jest znanym, albo też żadnych z nim nie utrzymywało stosunków. Jak tu przyjść do włościan i powiedzieć: „wybierajcie mnie", kiedy mogą zapytać: „kto pan taki?" albo „coś pan dla nas zrobił, kiedy chcesz abyśmy cię obdarzyli zaufaniem?" A więc rozpuszcza się agitatorów, którzy poją, bałamucą lub wprost płacą. Wprawdzie według ustaw austryackich tak przekupywany jak i przekupujący mogą i powinni być karani, ale trzeba złapać na uczynku, a któż ma łapać, jeżeli nie władze rządowe. Ba, kiedy znowu te władze rządowe nie chcą wiedzieć o tem, kto przekupuje, choć nazwiska pośredników wszystkim są wiadome, choć się oni nie tają bynajmniej ze swoją „pracą". Ale jakże ma ich rząd ścigać, kiedy sam na wielką skalę przyczynia się do demoralizacyi, kiedy za kandydaturami „pańskiemi" czyli „rządowemi", bo to na jedno wychodzi, agitują władze administracyjne, dopuszczając się na każdym kroku wszelkich nadużyć. Starostowie rozpędzają zgromadzenia bez żadnego powodu, inspektorowie podatkowi grożą opornym przyspieszaniem sekwestracyi lub licytacyi, żandarmi biją, aresztują. Możnaby zapisać całe arkusze samem prostem wyliczeniem tych tylko nadużyć, jakie doszły do wiadomości ogółu za pośrednictwem dzienników, a jest to zaledwie setna część tego, co się dzieje. Dla przykładu przytoczę tylko jeden obrazek z Cholerzyna, wsi leżącej o milę od Krakowa — obrazek osnuty na zeznaniach świadków złożonych w kancelaryi adwokata krakowskiego, dr. Władysława Kastorego.

Dnia 11 września przybył do Cholerzyna w asystencyi dwóch żandarmów komisarz starosta p. Dobrowolski dla przeprowadzenia prawyborów tj. dla wybrania przez chłopów cholerzyńskich dwóch wyborców, mających prawo głosowania na posła. Chłopi chcieli wybrać dwóch gospodarzy, Jana Bartyzela i Mateusza Lipiarza, a żandarmom kazano, aby przeprowadzili wybór wójta i chłopa Korzeniaka. Żandarmi więc rozpoczęli agitacyę od namów prośbą i groźbą. Mówili do chłopów: „głosujcie na wójta i na Korzeniaka, bo inaczej zapiszemy was do czarnej książki i będziecie nieszczęśliwi", albo: „gdybyście głosowali na innych, to zapłacicie po 15 złr. kary". Po takich i tym podobnych namowach rozpoczęło się głosowanie. Kiedy jeden z wyborców zająknął się przy nazwisku, które miał wygłosić, a inni mu podpowiedzieli, komisarz Dobrowolski sądząc, iż podpowiadającym był chłop Piórko, kazał go wyprowadzić z kancelaryi i aresztować. Żandarm go wyprowadził, uderzył dwa razy w twarz, mówiąc: „dam ja ci ptaszku!" Po ukończeniu wyborów, kiedy żandarm prowadził przez wieś Piórkę, żona jego udała się w prośby za aresztowanym. Żandarm ją odepchnął, wskutek czego powstała bitka, wśród której żandarma rozbrojono. Rozbrojony udał się do poblizkiego miasteczka Liszek i powróciwszy z trzema żandarmami rozpoczął aresztowania, kogo się dało i jak się dało. Wszystkich aresztowanych skuto, bijąc ich po twarzy, lub kolbami, targając koszule itd. Kiedy 70-cio letnia matka jednego z aresztowanych zapytała go: „synu, za coś zasłużył na łańcuchy?" żandarm uderzył ją w kark, aż się zatoczyła. Skuto między innymi niejakiego Lorka, któremu komisarz powiedział: „ja tobie dam, żeś na Bartyzela i Lipiarza głosował, teraz będę ci na karku jeździł". Córka tego Lorka, oberwała najprzód kolbą przez plecy, a kiedy pojechała za ojcem do Liszek, żandarm potargał jej koszulę i bił po twarzy. Jeden z żandarmów przy sposobności tak uderzył pięścią w kark 8-mio letniego chłopca Jana Kadulę, że ten się przewrócił i dostał wielkiej choroby.

Oto w streszczeniu obrazek „wolnych" prawyborów w Cholerzynie. Nie przeczę, iż rozprawa sądowa może wykazać odwrotną stronę medalu, ale w każdym razie pozostanie faktem, że z powodu prawyborów w Cholerzynie aresztowano, skuto i zaprowadzono do więzienia 12-tu chłopów, a między niemi jednego wybranego przez nich wyborcę, bo chłopi bądź co bądź na swojem postawili i kandydaci żandarmscy przepadli.

To co się działo w Cholerzynie mniej lub więcej dzieje się we wszystkich prawie gminach galicyjskich, chyba, że chłopi są całkiem posłuszni, lub że komisarz starostwa nie chce na tej drodze szukać odznaczenia.

W poprzednich moich korespondencyach parokrotnie zaznaczyłem, że nie należę do zwolenników wybierania włościan na posłów. Ale kiedy ustawy nadały tej warstwie prawo wyborcze, to wykonywanie go w ten sposób, jak się to dzieje w Galicyi, nie zasługuje na żadną pobłażliwość.

Jaśnie wielmożni i wielmożni panowie, opamiętajcie się póki jeszcze pora. Nie ograniczajcie się na pisaniu frazesów o miłości dla ludu, nie idźcie do tego ludu z pieniędzmi i żandarmem, kiedy nadchodzi czas wyborów, ale żyjcie z nim, podajcie rękę tym „młodszym braciom", dzielcie się z nimi sercem, nie skąpcie im rady i pomocy. Nie czyniliście tego dotąd i oto pomiędzy wami a ludem powiększa się przepaść, która dla kraju, dla narodu stać się może nieszczęściem. Ten lud, choć jest ciemny, ale z każdym dniem zdobywa sobie coraz lepsze pojęcie o swoich prawach i swojej zbiorowej potędze. Kto go poprowadzi, przy tym w przyszłości będzie zwycięztwo. Ale do miłości jego nie droga przez zajścia cholerzyńskie, przez nadużycia i przekupstwa. Mam silne przekonanie, iż to co się stało w Cholerzynie nietylko rozgoryczy lud cały, ale zaraz na miejscu wyda swoje owoce. Kandydatem komitetu centralnego z kuryi włościańskiej krakowskiej jest dr. Franciszek Paszkowski, człowiek, który całkiem na wybór zasługuje, i przed paru tygodniami wyboru tego byłem zupełnie pewny, — po zajściach cholerzyńskich, pozwalam sobie wątpić, aby dr. Paszkowski był posłem włościańskim z powiatu krakowskiego. Przekonamy się zresztą o tem za dni parę, pojutrze bowiem odbywać się będą wybory.

K. Bartoszewicz.



Rusofilizm w Czechach.

Polacy za mało znają Czechów i przeto pojęcia o nich zazwyczaj są krańcowe. Tak np. jest z hołdem, jaki składają poezyi ósmego i dziewiątego lat dziesiątka, tak z rusofilstwem, do nadto wielkich rozciągniętem rozmiarów.

Prawda! wielka rzesza pseudo-inteligencyi jest przychylną mrzonkom rusofilskim. Prawda! „Nar. Listy" w tymże pracują duchu. Ale i śród przedstawicieli „Nar. Listów" i śród inteligencyi narodni-listowskiej spotykamy wielu

---

WANDA (*nieco niecierpliwie*).

Powtórz mi pan jej słowa, nie wiem o co chodzi.

LEON (*j. w.*)

Czy to prawda, co powiedziała dwie godziny temu?

WANDA (*j. w.*)

Co, mianowicie?

LEON (*nachyla się, cicho*).

Żeś nieszczęśliwa, nieszczęśliwsza od nas wszystkich?

WANDA.

Ból nie da się zmierzyć.

LEON.

Gdym panią ujrzał... tak okropnie smutną... uczułem, że to prawda. Dotąd oczy twoje pełne są bólu!

WANDA (*spokojnie*).

To, co mnie szarpie... nie istnieje dla pana; to, co mnie rozstraja, rozstrajać według pana nie może... Moje smutki są jałowe: chimerą — cierpienia. Nie, — dla pana nie cierpię!

LEON (*gwałtownie*).

Więc pani nie chcesz uważać mnie za przyjaciela?

WANDA (*j. w.*)

Przypuszczasz pan, że to możliwe?

LEON (*wzburzony*).

To w pani mocy!...

WANDA.

Nie rozumiem.

LEON (*porywczo*).

Bo nie chcesz rozumieć! Bo wolisz deptać wrogiego robaka, niż dłoń podać człowiekowi!...

WANDA (*spokojnie*).

Nie podaję, by mi ją nie cofniono.

LEON (*gwałtownie*).

Jabym swoją... pani... cofnął?... Ależ...

WANDA (*przerywa mu umyślnie*).

Nie mówmy o tem!...

LEON (*szyderczo*).

Pani się słów obawiasz, bo treść ich jest ci wiadomą.

WANDA.

Jeżeli to pan przypuszczasz, na co słowa?...

LEON.

Bo ja nie znam odpowiedzi!

WANDA (*chłodno*).

Nie rozumiem pana krytych słów.

LEON (*szyderczo*).

A jednak wiedziałaś pani „co drga w każdem mem słowie, zwróconem do ciebie". Wiedziałaś, nim ja stałem się tego świadomy.

(*Milczenie.*)

LEON (*porywczo*).

Teraz ja pani powiem, co drga w twojej muzyce buntu i rozpaczy i dla czego tak rozstraja: to ból, tkwiący w duszy pani, jak ognista, zatruta, sycząca strzała; to ból pragnień, pragnienie miłości!...

(*Wanda patrzy na niego spokojnie.*)

LEON.

Tak, tak, wpijaj we mnie swe zagadkowe spojrzenie, na dnie ich chłodu pali się tęsknota! tęsknota za szczęściem!... Spokojna twarz twoja zakrywa wulkan pragnień, zimne obejście, gwałtowny prąd krwi gorącej. Twa blada cera bije głęboko ukrytym płomieniem, a mózg płonie widziadłami raju! I to obłuda twoja życiowa roznamiętnia twą grę, obłuda twa przyprawia o szaleństwo!...

(*Wanda patrzy na niego nieruchomym wzrokiem.*)

LEON (*gwałtownie*).

Może tak nie jest?... O kłam, kłam, udawaj, że pragnień człowieczych w tobie niema, żeś wyższa nad pragnienie szczęścia!... Że ci artyzm wystarcza!... Jak ty tworzyć możesz, jeżeli nic nie czujesz?...

WANDA (*drwiąco*).

Ba! szczęście! To zbyt dobre, by nie połykać śliny, gdy się o niem myśli!

LEON (*szyderczo*).

Więc dla czegóż pani ślinę tylko łykasz?

WANDA.

Zielone winogrona.

LEON (*porywczo*).

Ależ one dojrzałe, u stóp twych leżą!...

WANDA (*śmieje się ironicznie*).

Tak pan mówisz?... (*poważnie*) To co u nóg mych leży przestaje być dla mnie pożądanem. Muszę w górę patrzeć, by pragnąć i wspinać się po szczęście... nie schylać!...

osobników, którym idee rusofilskie bynajmniej nie przypadają do smaku. Z drugiej zaś strony — śród onych niby rusofilów — iluż to jest takich, którzy są jedynie przebranymi na wróble niemieckie strachami. Tylko, że Wiedeń zanadto już poznał je dobrze, aby z trwogi przed nimi truchlał, a właśni ich bracia czescy najwięcej na tem tracą, przyjmując często faryzeuszowskie przewodników frazesy za prawdziwe słowo, z ożywczego płynące zdroju.

Za to gmatwanie pojęć nieukształconym jeszcze politycznie współbraciom, odpowiedzą w przyszłości przed sądem bezstronnych krytyków. Ja dziś chcę wskazać, jak głęboko wpływ ten sięga, jakie warstwy rusofilskim podlegają zachciankom.

Kto pierwszy raz jest w Pradze, a kręci się po mieście i raz w tej, raz w innej, prostszej restauracyjce przepędzi wieczór, zaiste zdziwionym będzie, kiedy Czesi, usłyszawszy zbliżoną do ich języka mowę, poczną go pytać: „Vy bratr Slovan?“ — „Cieszy mnie to“ i witają się serdecznie. Tego rodzaju powitania nie spotkamy u innego szczepu słowiańskiego. Ale ta życzliwość jest przyjemną. Bo pamiętajmy, że to jest okazywanie serdeczności przez prostych ludzi — nie dla Rosyan — nie, — jeno dla wszystkich Słowian. Nie wydarzyło mi się nigdy być zaczepionym słowami: „Vy bratr Rus?“

Jednak pomimo tego ogólno-słowiańskiego uczucia są ludzie, których serce silnie bije dla Rosyi, — a bije często wprost bezmyślnie. Znać w tem nie szczere, z własnego serca płynące, własnym rozumem ukształcone przekonanie, lecz człowiek taki zda się być często wyuczoną sroką, powtarzającą bez uczestnictwa rozumu: „Trzeba się zlać z Rosyą, wcielić w nią, przyjąć prawosławie i pracować ku północnego olbrzyma dobru“*). Ale nawet ci krańcowi śpiewają hymny narodowe i w chwili rozpłomienienia mówią o Czechach wielkich, silnych, samodzielnych, gotowi borykać się za ojczyznę, język i wiarę.

Ale czy wszystkie warstwy rękoma pracujące przychylne są ideom rusofilskim?

Najpierw — niezbyt wprawdzie jeszcze potężna i niezbyt silnie zorganizowana, nie mająca nadto biegłych przewodników, partya socyalistyczna wcale a wcale nie przechyla się ku przekonaniom obozu rusofilskiego. A partya ta, oprócz robotników fabrycznych, obejmuje znaczny poczet rzemieślników, tworzących (zwłaszcza rzemiosła, z inteligentniejszych składające się jednostek np. zecerzy) silną tamę przeciw pragnieniom, dążącym ku wyrobieniu uwielbiania jakiegokolwiekbądź ucisku i wyzysku. Ze sfer rzemieślniczych do tej partyi należy najwięcej młodzieży. Z drugiej zaś strony niemała liczba poważnych rzemieślników, choć nie trzyma z socyalistami, nie lgnie również do idei rusofilskich.

Powtóre lud prosty, wieśniak, daleki jest od zrusofilizowania uczuć. Nie znajduje się w ognisku robienia polityki, nie patrzy bezpośrednio na ogromną kuźnię pragską, której znaczny kąt należy do „Nar. Listów“, wykuwających z przekonań zdawkowych takie kosy i sierpy idei, które przeznaczone ku żęciu zboża dla rodaków, tną ich nogi i ranią, przeszkadzając pracować na polu powszechnego dobra. Te idee szkodliwe nie mają więc zbyt wielkiego wpływu na lud, odcięty od Pragi i pogrążony w pracy rolnej. Zwłaszcza zaś, iż lud mniej czyta od obywatelstwa pragskiego i wogóle miejskiego.

A teraz jeszcze jedno. Jeśli mówimy o rusofilstwie w Czechach, winniśmy odróżniać od Czech właściwych Morawę i Szląsk. Nie zapominajmy, że Czesi nie są znów narodem tak silnie zjednoczonym, jak się o tem zwykle mówi. Znajdziemy wielu, którzy rzekną, iż są Morawianami a nie Czechami. Do nich nie zaszła jeszcze nietylko tendencya rusofilska, ale nawet czeska. Słowacy zaś może jeszcze mniej uważają się za Czechów. Z inteligencyi owych stron (Morawianie i Słowacy) część świadomie do czeskiej zalicza się narodowości, a inna, lubo jest czeską, niezbytnią jednak okazuje chęć nawet ku borykaniu się z żywiołem niemieckim, a cóż dopiero mówić o rozpowszechnianiu idei dalekich, nie złączonych bezpośrednio z sferą ich interesów. Nie znaczy to jednak wcale, aby Morawa nie miała rusofilów, zwłaszcza głoszących idee cyrylo-metodyjskie; ale ruch ów nie jest tak strasznym i wielkim, aby Morawę nazwać rusofilską. Jest ona mniej rusofilską niż Czechy, bo tutaj rusofilami są w części i warstwy niższe, podczas, gdy na Morawie te ostatnie mniej podpadły wpływom sztucznym. Są one mniej politycznie urobione, ale czystsze.

Któż więc rzeczywiście składa żywioł, znany pod nazwą rusofilizmu.

Naprzód w małej i to bardzo małej liczbie lud czeski, a jeszcze mniej morawski; dalej, pewien odłam i to po większej części nie najukształceńszy warstwy rzemieślniczej, nie umiejący patrzeć dalej nosa a przywykły do „Nar. Listów“ i za ciężki do krytyki. Gdym z ludźmi tymi rozmawiał, głosili, „może to nie być zupełnie prawdą, co „Nar. Listy“ piszą, ale poco nam „trhat“ nasze zasady, podawać nowe i rozpraszać się“.

Najwięcej jednak szeregi rusofilskie zapełnia inteligencya niższego rzędu np. reporterka i gryzipiórstwo, a dalej prawdziwa, częstokroć zbyt powierzchowna, do której można zaliczyć dziennikarstwo młodoczeskie i młodzież, kształcącą się w wyższych zakładach naukowych.

O „Nar. Listach“ i inteligencyi barwy narodni-listowskiej mówiłem wyżej. Co do młodzieży rusofilizm nie wszędzie jest jednej siły. Najwięcej przejawia się śród młodzieży słowackiej, ale jest niejako rozpaczliwym. Słowacy węgierscy, znoszący wiele od słowianożerczych Madziarów, a nie mając od nikogo pomocy, gotowi są oddać się Rosyi, aby ich tylko wyswobodziła z ucisku.

Z tem wszystkiem jednak pamiętajmy, że od lat kilku powstał śród młodzieży silny ruch postępowy, do czego posłużyła prasa miesięcznikowa, w której pracują najruchliwsze i najsympatyczniejsze umysły, owiane nowymi prądami, krytycznie ukształcone. Dalej coraz lepiej rozwijająca się prasa socyalistyczna wypycha z głów powoli trujące mrzonki o niestrawnym rusofilizmie.

Dla tego też dziś nie można czerpać wiadomości o Czechach wyłącznie z „Nar. Listów“, co zazwyczaj ma miejsce w naszej prasie. Dotychczas ze strony polskiej słyszymy: „Czesi! ależ to rusofile“, a z czeskiej „Polacy! to stanczykerja! to na usługach Wiednia pozostający lokaje“.

Komu miła zgoda, chęć wspólnej pracy, powinien głębiej zajrzeć w stosunki, zrozumieć, że dziś w pierwszym rzędzie trzeba się liczyć nie z garstką, dzięki szczęśliwym dla niej okolicznościom, stojącą u steru, jeno z olbrzymiemi siłami, ukrytemi w sercach i umysłach niższych warstw narodu.

Wyławiający wiadomości jedynie z „Nar. Listów“ niepotrzebnie wywyższa ich wpływ, z drugiej zaś strony obraża Czechów, mniemając, że nie mają ludzi zdolnych do odróżnienia brylantów sztucznych od prawdziwych.

Od lat kilku powstały ruch prasowy bądź socyalistyczny, a jeszcze więcej postępowo-realny („Rozhledy“, „Nasza Doba“ i „Czas“) zbyt jest silnym, by go lekceważyć. Przy jego pomocy rusofilizm w Czechach znacznie się już skurczył i coraz więcej ubywa mu gruntu pod nogami.

Zem.

*) Chociaż znaczna część rusofilów nie posuwa swej przyjaźni aż do utraty języka lub wiary, jest tylko bezkrytyczną Rosyi wielbicielką i ku niej dąży.

LEON (*gorąco*).

A jeżeli tam w górze nigdy go nie dojrzysz?...

WANDA.

Zrezygnuję.

LEON (*z gorącą ironią*).

Na wypatrywanie nieba przez puste błękity zejdzie ci młodość i życie!

WANDA (*z spokojnym uśmiechem*).

Nie obawiaj się pan... patrzeć będę przed siebie lub na ziemię i czekać coś lepszego od szczęścia.

LEON.

Cóż lepszego!... powiedz, czem jest ten wyższy stopień dobra, bym w jego imieniu porzucił marzenia!

WANDA (*z zapałem*).

Upojenie czynu!

LEON (*gwałtownie*).

Kłamiesz pani lub czynem kłamać będziesz!... Ach, ta przeklęta obłuda dumy!... (*porywczo*) Dla czego mnie pani tak rozstrajasz?...

WANDA.

Będziesz pan mógł teraz wrócić do równowagi — wyjeżdżam.

LEON (*gwałtownie*).

Co?... wyjeżdżasz?

(*Wanda głową daje znak twierdzący.*)

LEON (*hamuje się*).

I dla czegoż?... dla czegoż?... Wszak miałaś miesiąc cały spędzić z nami!

WANDA.

Dla czego?... (*gorzko*) Bo nie mogłam się nawet tutaj schronić przed swem przeznaczeniem.

LEON.

Jakiem?...

WANDA (*j. w.*)

Stałam się ludziom, którzy mnie otaczają, trucizną.

LEON (*porywczo*).

Kogoż tutaj trujesz?

WANDA.

Ciebie i Rózię. Każde w sposób odmienny.

LEON (*j. w.*)

Wszak Rózia panią kocha i wielbi jak bóstwo, i mówi, żeś ty ją uczyniła człowiekiem!

WANDA.

Mówiłeś pan sam, że wszczepiam w nią newrozę.

LEON (*porywczo*).

I pani zważać będzie na moje słowa! A ja co chwila myślę o tobie inaczej! Co ja wreszcie znaczyć mogę dla ciebie?

WANDA.

Pan możesz nic nie znaczyć, lecz słowa twe mogą być słuszne.

LEON (*z namiętnym żalem*).

Jam je powiedział w gniewie, w buncie przeciwko tobie, nie w zimnej rozwadze!...

WANDA.

Czy wiemy, kiedy się wypowiada rzeczywista prawda naszych dusz?... Ta prawda częściej należy do naszych stanów niepoczytalnych, niż do myśli objektywnej.

LEON (*z prośbą*).

Wando!.. Ja teraz także myślę podmiotowo, a czuję, że ci bardzo dużo zawdzięczam i że mi jesteś bardzo, bardzo potrzebną!...

WANDA.

To złudzenie; daje ci je powab wymykającej się trucizny.

LEON.

Jam chory, potrzebne mi gorzkie, silne lekarstwo. Lecz tyś dobra, Wando! Czy wiesz, Kazio pisał do mnie... List pełen ciebie... mówi o tobie jak o straconem bóstwie... z uwielbieniem i rozpaczą... Zostań!

WANDA (*stanowczo*).

Nie mogę.

LEON (*wybucha*).

Tak?... rzucasz ferment w duszę i wyjeżdżasz?... Ha! Obawiasz się, by wyniki twych doświadczeń nie padły ci na głowę!... Ty potężna boisz się!!...

(*Wanda ironicznie patrzy mu w oczy.*)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Wobec tryumfalnych artykułów „Schlesische Volksztg.“ z powodu zwycięztwa niemieckiego kandydata p. Latacza w pszczyńsko-rybnickim okręgu tak odpowiada „Gazeta Opolska“ (Nr. 75):

Niech „Schl. Volksztg.“ nie krzyczy panu Lataczowi: „Ein donnerndes Hoch!“, jak to uczyniła, bo to dopiero w pszczyńsko-rybnickiem początek, a przecież mamy już, jak wiadomo, inne walki za sobą, w których „Schl. Volksztg.“ musiała się ze swojem: Vae victis! — biada zwyciężonym! w kąt schować, a raczej do siebie je zastósować.

Kłamstwa, fałsze i oszczerstwa, których dotykaniem my się kalać nie myślimy, szerzy „Schl. Volksztg.“ w walce z polsko-katolickiemi gazetami. Niech jednak pamięta, że śliny jej jadu nas nie zatrują ani nie odstraszą od dalszej wytrwałej walki z tymi, którzy wyzyskując korzystne dla siebie okoliczności, narzucają ludowi nieodpowiednich zastępców.

Wy się nie chwalcie waszą przyjaźnią dla Polaków i polskiego ludu, bo wiadomo nam, jak długo ze strony centrum nie było wolno o polskich sprawach na Szląsku się odzywać i kto to milczenie przerwał.

Wy się nie chwalcie, bo nigdzie takich anormalnych stosunków nie ma, jak na Szląsku, żeby lud posłów obcej narodowości wybierał i jeszcze z łaski tylko chyba mógł się spodziewać, że mu tedy i owedy oczy zamydlicie faryzeuszowskim słówkiem o obronie „języka ojczystego“, nie mówiąc już o czysto polskiem pochodzeniu i narodowości polskiej ludu szląskiego, bo tej wy wcale uznać ani o niej mówić nie chcecie!

Wy się nie chwalcie, bo kontrakt wasz z nami zerwaliście, a i godzina dla was obrachunku z ludem polskim prędzej czy później wybije!“

—

Tej samej sprawie poświęcają „Nowiny Raciborskie“ (Nr. 113) uwagi następujące:

„Schlesische Volksztg.“ pomawia o to „Nowiny Raciborskie“, „Gazetę Opolską“ i „Katolika“, że na agitacye wyborcze pobierają pieniądze z Poznania. Jak „Katolik“, tak i „Nowiny Raciborskie“ zaznaczają wyraźnie, że o jakiejś kasie wojennej nic a nic nie wiedzą i że im znikąd pieniędzy na agitacye nie przysyłano. „Schlesische Volkszeitung“ nie może widocznie pojąć, aby lud polski sam z siebie mógł się obudzić z uśpienia pod względem narodowym, i dla tego każdy ruch żywszy na Szląsku przypisuje agitacyom wielkopolskim. Bez pieniędzy z Poznania nadchodzących nie byłoby jej zdaniem żadnego ruchu narodowościowego na Szląsku. Jak podłym jest podobny niczem nie udowodniony zarzut, charakteryzujący bardzo wybitnie podstępny sposób wojowania tego organu centrowego, powiedzieć trudno. „Katolik“ oburzony do żywego, wzywa przeto słusznie, aby „Schl. Volksztg.“ okazała odwagę i powtórzyła zarzut jasno i wyraźnie z podaniem szczegółów, aby go redakcya „Katolika“ mogła zaskarżyć. Jeżeli tego nie uczyni, to pokaże, że ma strach przed skargą; będzie to znakiem, iż oczywistą nieprawdę głosiła, a w takim razie powinna z uczciwości i poczucia katolickiego odwołać publicznie zarzut haniebny.

Na wezwanie „Katolika“ godzimy się i my najzupełniej, bo zarzut wzmiankowany, jakoby gazety polskie na Szląsku były tylko na żołdzie jakichś agitatorów poznańskich i nas oburzył“.

—

Z Łęgu donoszą „Gazecie Toruńskiej“ (nr. 221) o zdarzeniu ilustrującem jaskrawo postępowanie Niemców w tak zwanych „Kriegervereine“, do których, mianowicie po małych miastach, garnie się wielu Polaków. Korespondent „Gazety Toruńskiej“ pisze:

„Podczas ostatniej zabawy, którą to „krigerverajniści“ w lesie urządzili w rocznicę krigerverajnu, odbyło się także poświęcenie nowej chorągwi. Na miejscu zabawy obeszli się „verajnisty“ z jednym znacznym polskim panem bardzo niegrzecznie. Ów pan jest „honorowy“ człowiek, początkowo był on także pomocnikiem przy założeniu „kriegerverajnu“, podejmował on także nieraz wiele pracy i trudu, aby najbardziej „verajn“ uszlachetnić, za co też dostał pochwałę. Ale nie długo się cieszył łaską najserdeczniejszych, bo gdy podczas ostatniej zabawy „kriegerverajnu“ w lesie zdarzyło się owemu panu mówić do swego druha kilka słów po polsku, jeden z panów niemieckich nakazał mu, aby z swą polską mową był cicho i nie przeszkadzał. Lecz ów polski pan nie troszczył się o zakaz, tylko gawędził sobie dalej. Rozgniewało to owego Niemca „verajnistę“, że go nie słuchano; powiedział o tem prezesowi „verajnu“, mówiąc, że jeden pan jest na przeszkodzie, „kwatscht immer polnisch und will nicht ruhig sein“. Prezes, nie namyślając się długo, kazał przez żandarma owego pana z miejsca zabawy aż na szosę wyprowadzić, i musiał się ów pan ze wstydem do domu zabierać. Tak to najserdeczniejsi z Polakami się obchodzą, których początkowo dobremi słówkami wabili, aby się do „kriegerverajnu“ wpisali, a teraz za to im urągają.“

—

O potrzebie zakładania polskich towarzystw politycznych takie wypowiada uwagi jeden z korespondentów „Orędownika“ w nr. 217:

„Wśród innych narodów, cieszących się konstytucyą, roi się od stowarzyszeń politycznych, a u nas są ludzie (niby to światli), którym się wydaje, że są one niedozwolone. Pochodzi to też z tej przyczyny, że nie jest nam jasnem, co jest polityka i stowarzyszenia polityczne. Iluż to z naszych sądzi, że w towarzystwach politycznych odbywają się narady nad odbudowaniem Polski? Brak nam oświaty politycznej, toż się prawie dziwić nie można takim poglądom i znowu z drugiej strony nic to dziwnego, że pole stowarzyszeń politycznych leży odłogiem.

Po roku 1848 istniały z inicyatywy hr. Cieszkowskiego ligi polskie, ale te ze względu na prawo o stowarzyszeniach rozwiązane być musiały, bo tworzyły związek. Odtąd u nas przykładny panuje spokój i do snu miłego nas kołysze; cóżby na to powiedziała lojalność pruska, która nam w ślepą babkę bawić się każe i wierzyć pierwszemu lepszemu politykowi z ramienia Kościelskich etc. na słowo, gdyby stowarzyszenia polityczne przeszkodziły pójść na herbatkę berlińską?

Towarzystwa polityczne mogłyby niepoślednią oddać usługę społeczeństwu naszemu, gdyby nie było obawy, że do przesady dojdziemy, bo u nas miary znaleść nie możemy. „Kiedy jechać, to już sanną; — kiedy hulać, to już z panną“, a kiedy się bawić w politykę, to już suto, jak to bywa przy kieliszku.

Jesteśmy przygnieceni, rozdarci na troje, nie mamy bytu politycznego, więc nie dziw, że ci, co jeszcze Polskę wolną pamiętali, zapomnieć tego nie mogli i polityczne swe poglądy na walce orężnej opierali. Dziś nowe pokolenia w innej wychowane szkole, rozstały się z myślą takiej walki, toć pozostała nam walka bezkrwawa, groźniejsza w skutkach. Należymy do państwa pruskiego, czemuż nie mamy korzystać z jego konstytucyi i praw, jego obywatelom przysługujących?

Do tych ostatnich należą stowarzyszenia polityczne; ale prowodyrowie nasi strzegą nas przed niemi, — niby Cerber groźny, aby nie wypuścić na świat śmielszej idei i trzymać ludzi w ciemnocie. Mało słyszeliśmy o towarzystwach politycznych u nas, a nawet — jak to już zaznaczyliśmy — nie ma towarzystwa wyborczego, jest tylko aparat wyborczy, który milczeć ludowi każe, aby nie rozrywać solidarności. Kto nie kiwa bezmyślnie głową, — to socyalista, anarchista i t. d.“

—

Organ duchowieństwa naszego straszy konsekwentnie przed zaczęciem nowego kwartału czytelników swoich grasującą rzekomo po kraju „masoneryą“ polską i zaleca jako jedyne le-

---

Hr. LEW TOŁSTOJ (syn).

POKUSA.

(Ciąg dalszy.)

Własow nie był przygotowany na tę nagłą niespodziankę i nie znalazł na razie lepszego wykrętu. Zarumienił się i postawił dosyć niezręcznie szklankę z gruszecznikiem na stole.

Książę zapoznał Własowa z studentami, którzy mu byli nieznani. Wszyscy go namawiali do wycieczki.

— Niech farsa zmieni się w rzeczywistość — na pewno będzie jakie błazeństwo — przejażdżka niewątpliwie przyjemniejsza; pogoda przepyszna.

— Wrócicie jeszcze do domu na czas — mówi drugi — jeszcze jest rychło.

— Pojedzie z nami, pojedzie, — woła inny — to dobry chłopiec, nie zepsuje nam towarzystwa!

Wesołość kolegów, ich prośby uprzejme, własna ochota przejechać się trójką, wszystko razem ogłuszyło Własowa.

Jakżeż on mógłby odmówić? Niepodobna. Zepsułby humor całemu towarzystwu, byłby złym kolegą i druhem. Na razie nie dostrzegł nic zdrożnego w przejażdżce; przystał.

— Dziękuję wam za to — mówi książę — tak lubię. A teraz, moi panowie, przed odjazdem wypijemy kieliszeczek na rozgrzanie.

— Dobrze! Dobrze! — woła jeden z studentów — pyszna myśl! Potem jednak w drogę, bo czas. Skupili się koło bufetu. Iwański tylko pozostał przy stole drzemiąc.

— W ręce — mówi książę, chwytając kieliszek, a drugi Własowowi podsuwając — na cześć naszej nauki, medycyny!

Własow chciał odpowiedzieć, że nie pije, że już dosyć wypił, że ślicznie dziękuje, lecz zamiast tego głupkowato się uśmiechnął i wziął kieliszek.

Wszyscy pili. Własow chwilę się wahał; nie chciał być jednak gorszym jak drudzy i jednym haustem wychylił kieliszek za przykładem księcia.

— Czyż ja to mały chłopiec — pomyślał, podniecając się, czyżbym nawet kieliszka wódki nie miał znieść?

Tym razem nie zachłysnął się, jak przy obiedzie, przy kieliszku likieru; pojął, że należy zaraz po wypiciu zamknąć usta i przez chwilę nie mówić nic. Nie przegryzł już nawet chlebem.

— Wasz przyjaciel Iwański — mówi książę, wskazując na niego i pojadając kanapkę — do niczego! Dawno też już nie hulał.

Zdaje się, że Iwański całkiem usnął, bo chylił się na wszystkie strony, wreszcie ociężale upadł na ziemię. Studenci rozśmiali się. Własowa dotknęło to niemile. Na chwilę ścisnęło mu się serce, lecz wkrótce zaczął się uśmiechać a wreszcie śmiał się razem z drugimi. Iwański podniósł się, błędnie patrząc wokoło siebie, uśmiechając się z przymusu.

— Zdrzymnąłem się — mówi ospale i ociera kurz z ubrania — jedźmy!

— Pojedziemy — mówi książę wesoło — jeszcze kieliszeczek na drogę a potem jazda! Moi panowie! Kto z was nie mówi sobie „ty“ z Własowem niech się z nim na braterstwo napije. Przystajecie? — zapytuje się, zwracając do Własowa.

— Czemuż nie?

Iwański przypatrywał się w milczeniu, jak książę z Własowem skrzyżował ręce i pił na braterstwo, a potem zaczął powoli zapinać surdut. Starał się przybrać minę poważną, z wyrazu jego twarzy można było także wywnioskować, iż starał się nadać sobie pozory trzeźwości.

Po ceremonii braterstwa odstąpili studenci od bufetu. Iwański, który podczas całej tej sceny ciągle zajęty był zapinaniem górnego guzika swego munduru, wrócił nagle na dawniejsze miejsce.

— A to co? — pyta książę, podchodząc do Iwańskiego — no, dalejże, wstań!

— Wstać? — powtarza Iwański, ospale mrugając oczyma.

karstwo na tę chorobę abonowanie „Kuryera Poznańskiego“. Nowy kwartał zbliża się obecnie, — „Kuryer“ zatem chwyta się ulubionej taktyki i grzmi na „Młodą Polskę“, zaklinając czytelników swoich, aby ratowali dusze swoje przed zarazą składaniem marek do Kuryerowej skarbnicy. W sprawie tej zabiera głos „Goniec Wielkop.“ i taką daje odprawę organowi duchowieństwa:

„Nowych abonentów pragnie mieć „Kuryer Poznański“; nie chodzi mu, jak pisze, o większe zyski, lecz jedynie o zwycięztwo dobrej idei, w imię której walczy i o możność udoskonalenia pisma.

Aby więc przeprowadzić zwycięztwo swojej idei (?) i módz „Kuryera“ udoskonalić, prosi redakcya „Kuryera Pozn.“ swych czytelników, a mianowicie duchownych, „aby starali się siłami wszystkiemi o pozyskanie nowych abonentów“. — Tak dalece wszystko w porządku — jest to zwykłe zaproszenie do przedpłaty z tą różnicą, że na samym wstępie zacytowała redakcya ustęp z encykliki.

Ale dla pozyskania nowych abonentów nie wystarcza „Kuryerowi“ zapewnić o tem, iż chce zwalczyć „złą prasę“ urządziła więc redakcya w zaproszeniu do przedpłaty (sic!) napad na tak zw. „Młodą Polskę“, t. j. „formujący się zastęp młodych przeważnie ludzi“, który, jak to „Kuryer“ w przededniu nowego abonamentu pragnie czytelnikom swym oznajmić, „na sztandarze swym zaczyna coraz wyraźniej wywieszać hasło: walka przeciw duchowieństwu“.

Aby nie tracić słów wiele, gdyż mamy mocne przekonanie, że napad na Młodą Polskę tej ostatniej nie wyrządzi nic złego a „Kuryerowi“ ani jednego nie przysporzy abonenta, — ograniczamy się na zaznaczeniu tego nowego sposobu kaptowania abonentów — sposobu, jaki nie przystoi żadnemu pismu katolickiemu, ale już najmniej takiemu, które chce być organem duchowieństwa.

Piękną być może zaiste walka o idee, lecz niepiękny podobny bigos o przejrzystej tendencyi, złożony: z trucizny, udoskonalenia pisma, Młodej Polski, szumnych apostrof do katolickiej Wielkopolski, warszawskich korespondencyi, powiastek historycznych, obiecanek, cacanek i t. d. i t. d.

Jest wszystko — z wyjątkiem jednego choćby wyrazu, zaznaczającego, że to zaproszenie do przedpłaty ułożone przez redakcyę pisma polskiego — aż dziwno, że się tam Młoda Polska dostała.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„Slovenski Narod“, wychodzący w Lublanie, pisze o słowińskiem gimnazyum w Cylеji i o stosunkach narodowościowych w południowej Styryi:

„Kiedy walczyliśmy o gimnazyum cylejskie, Niemcy mówili, że nam tego gimnazyum nie potrzeba, że chcemy korzyści politycznych. Wykazaliśmy już dawniej, że Niemcy owego gimnazyum się boją, bo w Cyleji są słabymi. Wpisy do niemieckiego gimnazyum naznaczono w niedzielę, ażeby w dzień ten zwabić włościan, do słowińskiego gimnazyum natomiast wpisywano w poniedziałek, ażeby włościanie jeden dzień zmudzili. Ale wszystko to na nic się nie zdało.

„Jasno się pokazało, że gimnazyum utrakwistyczne jest w Cyleji potrzebne. W bieżącym roku liczba uczni do niemieckiego gimnazyum zapisanych jest znacznie mniejszą, aniżeli za lat dawniejszych, z każdym zaś rokiem zmniejszać się będzie tak, że niższe klasy stać będą pustkami. Obecnie przyjęto do klasy pierwszej gimnazyum słowińskiego 160 uczni, do niemieckiego 20, z tej liczby musiano dla sześciu uczni ustanowić osobny kurs przygotowawczy, ażeby ich w języku niemieckim dostatecznie przygotować.

„Dziś widzą więc wszyscy Niemcy austryaccy, że kłamstwem wierutnem było twierdzenie, jakoby gimnazyum słowińskie było w Cyleji zbytecznem. Wszystka niemczyzna cylejska wraz z okolicą zdobyła się na 20 uczni. Nie ma wątpliwości, że liczba ta bez agitacyi byłaby jeszcze mniejszą. Gdyby urzędników niemieckich z Cyleji wydalono i zastąpiono ich słowińskimi, okazałoby się, że gimnazyum niemieckie jest całkiem zbytecznem. Nie wyobrażaliśmy sobie nigdy, że Niemcy w Cyleji są wielką potęgą, atoli nie sądziliśmy, żeby ich tak było mało, jak to dziś się okazało.

„Nie potrwa długo a większość niemiecka w reprezentacyi cylejskiej zostanie pokonaną przez Słowińców. Niemcy twierdzą, że po założeniu gimnazyów miasta się zesłowiańszczyły; tak miało być w Czechach. Nastąpi to zatem i w Cyleji. Zwracamy uwagę naszego rządu, aby z faktu, który zaszedł w Cyleji wyprowadził słuszny wniosek o prawdomowności Niemców. Niemcy tracą daremnie pieniądze i przeszkadzają postępowi oświaty, chcąc utrzymać sztucznie charakter niemiecki w krajach słowiańskich“.

* * *

Serbska „Zastava“ pisze z powodu zbliżenia się rządu serbskiego do Risticza:

„Jowana Risticza uważa się za człowieka przyszłości w Serbii. Ile to już razy radykali grzebali go żywcem a postępowcy kopali mu grób, twierdząc że jako figura polityczna skończył swoją rolę. Owoż umarły zmartwychwstał i cała Serbia zwraca na niego oczy.

„Po zamachu stanu w r. 1893 żył Ristic zdala od świata. Pokazał się pierwszy raz od tej doby w katedralnej cerkwi przy sposobności nabożeństwa odbywającego się z powodu ocalenia życia króla przy znanym wypadku w kąpielach.

„W Serbii uważa się to powszechnie za znak, że pomiędzy królem a Risticzem nastąpiło porozumienie, że zapomniał o niespodziance, którą mu sprawił król, ogłaszając się pełnoletnim i rozporządzając uwięzienie Risticza.

„Nie ma najmniejszej wątpliwości, że wszystko, co wówczas było, było dziełem Milana, z którym się Ristic nigdy nie mógł zgodzić. Dziś zmiana nastąpiła z powodu oziębienia się stosunków króla Alexandra z ojcem, do którego jedynie Ristic czuł urazę.

„Mówią obecnie, że król chce słuchać wskazówek wydziału, do którego mają należeć najwybitniejsi członkowie trzech głównych stronnictw, oraz że najgłówniejszem zadaniem rządu na teraz będzie rewizya konstytucyi.

„Niektórzy sądzą, że utworzone zostanie ministerstwo koalicyjne, na czele którego stanie Ristic. Radykali których współudziału nie można było zrazu pozyskać, dziś są do tego ustępstwa gotowi“.

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Przy poświęceniu domu szkolnego.

(Przekład z Ibsena.)

Nagie już pola, pożółkła miedza
I w lasach poblakły liście:
Czas nam więc ogród, gdzie wzrośnie wiedza,
Poświęcić dziś uroczyście.
Na mocnej, skalnej stanął podstawie,
Murami sięga wysoko, —
Boże, błogosław nam w dobrej sprawie,
Niech czuwa nad nią twe oko!
Górale! — w każdej widzimy wiośnie,
Jak się zielenią urwiska,
Jak mocna sosna na skałach rośnie,
Szczytem ku niebu wytryska,
I jak na twardej glebie kamiennej
Niwa się kłosem pokrywa: —
Tak w umysł ciemny nauki cennej
Ziarno niech z murów tych spływa.

Studenci, którzy zatrzymali się przy drzwiach, rozśmiali się głośno.

— Pojedziemy sami — mówi książę — przecież już zupełnie przyszedłeś do siebie, a ty...

— Do siebie? Do ciebie? Ale?

Iwański uśmiechnął się znowu cały bezradny i wymuszony. Potem starał się powstać. Stękając, wstał.

Goście restauracyjni i garson patrzeli na niego z politowaniem.

— Nie zapominaj, braciszku — odzywa się, wygrażając księciu palcem — nie zapominaj, braciszku, że nie ma politycznej alchemii, za pomocą której możnaby z instynktów ołowianej natury wytworzyć złote postępowanie — rozumiesz? złote „postępowanie“!

Mówił to wszystko z wielkiem przejęciem.

— Co? Co on gada? — pytają się koledzy wśród śmiechu.

Iwański spojrzał na nich z pogardą i powtórzył frazes: „Nie ma i t. d.

— To wyjątek z Spencera — mówi Własow zmięszany — studyował go w ostatnim czasie i nauczył się na pamięć kilka ustępów.

— Oto mądry chłopiec! — mówi Iwański — Piotruś wie dużo, a wy co? Rozumiecie wy co? Głupcami jesteście, urwiszami! Rozumiecie? Urwiszami jesteście i basta.

Twarz Iwańskiego przybrała wyraz gniewu. Opuścił głowę, zmarszczył brwi, zacisnął pięści, jakby miał ochotę wygrzmocić kogo.

Proszę cię, nie strasz nas — mówi książę żartem, lecz z lekkim odcieniem napomnienia — wstrzymujesz nas tylko niepotrzebnie.

Iwański chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zabełkotał tylko niewyraźnie, podniósł głowę, a twarz jego przybrała znowu dawny wyraz dobroduszności i melancholijnego przesytu.

— Jedźmy — mówi krótko — pal was wszyscy dyabli!

Studenci opuścili teatr. Przed bramą, pilnowaną przez kilku stójkowych, zajechały dwie trójki. Towarzystwo podzieliło się na dwie części i gwarno rozsiadło się w saniach. Książę z najlepszymi swymi przyjaciołmi i z Własowem wsiadł do jednych sanek, drugie zajął Iwański z resztą.

Weseli woźnice, w wysokich okrągłych czapkach, w granatowych surdutach, czerwonemi pasami przepasani, ruszyli z miejsca, dzwonki zabrzęczały. Sanki mknęły wnet po szerokich ulicach. Mróz był, lecz bez wiatru, niebo szarawe, mróz wzrastał.

Książę, stojąc w sankach, zaintonował: *„Gaudeamus igitur...“*

Wszyscy wtórowali; Własow także, chociaż niezbyt dobrze pamiętał słowa piosenki.

Było mu wesoło na duszy. Chciał krzyczeć, ruszać się, a przedewszystkiem pędzić w świat dzielną trójką.

Podniósł się także w sankach i śpiewał, nie wiedząc sam co. Spoglądał rozjaśnionem okiem raz w twarz księciu, to znów na tłuste konie, które ochoczo biegły i kopytami bryły śniegu w twarz rzucały woźnicom.

Iwański śpiewał głębokim basem za nimi:

Vivant omnes virgines
Faciles, formosae!

— A ja nie zapłaciłem za wódkę — przypomniał sobie naraz Własow, Bóg wie, dla czego teraz właśnie — muszę mu oddać.

— Ile jestem dłużny? — zapytał księcia. Płaciliście wszystko przy bufecie.

W tej chwili poczuł żal, że się tak niestosownie odezwał.

— Co? — zapytał książę prawie ostro — najpierw mówisz mi „wy“ a potem pamiętaj, pomiędzy kolegami nie ma rachunków, braciszku. Spamiętaj sobie na przyszłość. Dzisiaj zresztą wszystko płacę.

Własow jeszcze więcej się zmięszał.

— Ależ czemu? — odzywa się niepewny — przecież nie możesz wszystkiego płacić.

— Zabawny z ciebie chłop — odpowiada książę z uśmiechem odkrywając piękne białe zęby. Pomimo tego jesteś kochany chłopak. Mówiąc to, położył rękę dobrotliwie na ramię Własowa.

„Pereat tristitia, pereant dolores...“ śpiewał książę dalej.

Potrzeba jednak ciepła powiewu,
Słońca, powietrza nie mało,
Aby to ziarno ducha posiewu
Plon bujny z czasem wydało.
Dajcie więc dostęp powiewom wolnym,
Światło niech w mury przeniknie:
Tylko w wolności duch wzrość jest zdolnym
I tylko w świetle mrok zniknie.
Niech się więc święci ta ducha gleba,
Ten ogród, gdzie myśl wyrasta!
Zasiane ziarno nauki-chleba
Dziki niech chwast nie porasta.
Od życia jednak i od natury
Któż dzieli wiedzy skarbnicę?
Ochronę tylko niech dają mury,
Ale nie ciasną granicę!

J. Czar.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Fakty z życia ekonomicznego.

(Notatki).

II.

(Skrócenie dnia roboczego).

Od czasu, kiedy Pitagoras, dowiódłszy swego o trójkątach twierdzenia, zarżnął sto wołów bogom w ofierze, od czasu tego, jak wiadomo, przy odkryciu każdej nowej prawdy woły na całym świecie ryk podnoszą. Temu rykowi wołów towarzyszy wycie wilków, jeżeli nowa myśl staje się przeszkodą do łupu. Ryk i wycie, od których bębenki w uszach pękały, powstał w Anglii, kiedy dzielny i nieustraszony inspektor fabryczny Leonard Horner agitował za prawodawstwem fabrycznem, dowodząc, że praca fabryczna dzieci i kobiet, jak również praca nadmierna w niehygienicznych warunkach, podkopuje byt klasy wyrobniczej. Uczony ekonomista pan Senior dowodził wówczas jak na dłoni, że zysk fabrykanta powstaje w ostatniej dopiero, dwunastej godzinie, więc zakaz zatrudniania kobiet więcej jak przez 11 godzin, pociągający za sobą konieczność ograniczenia w tych fabrykach, gdzie pracują mężczyźni i kobiety razem, pracy wogóle do jedenastu godzin, niszczy zysk fabrykantów; a przedsiębiorcy oświadczyli zgodnie, że zakaz taki zniszczy przemysł Anglii, strąci to państwo w przepaść, patryotyzm ich więc nie pozwala na takie burzenie zasad wolności. Jednakże „ostatnia godzina“ p. Senior okazała się błędem, a co sądzić o patryotyzmie kapitału wiedziano już w Anglii, od kiedy podczas wojen napoleońskich kapitaliści oświadczyli, że jeżeli mają płacić tak wysokie podatki na obronę kraju, to nie ma właściwie czego bronić. Projekty Hornera zostały urzeczywistnione, przemysł angielski nie upadł, ale rozwinął się, powoli ucichły ryk i wycie. Kiedy zaczęto mówić o ograniczeniu czasu pracy wogóle, dla całej ludności fabrycznej, powtórzyło się to samo: dziś mamy w niektórych krajach „normalny dzień roboczy“ i świat się nie zawalił. Przedstawiciele klasy robotniczej zaczęli agitować za ośmiogodzinnym dniem roboczym, i dotąd „uczone woły“ i „drapieżne wilki“ ryczą i wyją. Jednakże są już dziś profesorowie, którzy bez uprzedzeń przystąpiwszy do badania, ujrzeli, ze ośmiogodzinny dzień roboczy nie jest jednakże wymysłem próżnym „demagogów“, ba, znaleźli się nawet tacy fabrykanci, ktorzy nie zawahali się zrobić próbę i wyszli dobrze na tem. Przed rokiem n. p. profesor Philipowich ogłosił spostrzenia zrobione w pewnej fabryce koronek. Dyrektor tej fabryki, chcąc zapobiedz nadprodukcyi, skrócił dzień do 8 godzin; pokazało się po kilkotygodniowej próbie, że ilość produktu nie zmniejszyła się, a jakość polepszyła. Zaprowadził więc stale dzień ośmiogodzinny i rezultat był wcale pomyślny. Podobny rezultat otrzymano wkrótce w jednej z większych walcowni w Austryi. Praca w walcowni, jak wiadomo, nie może uledz przerwie. W danym więc zakładzie pracowały dwie zmiany robotników po 12 godzin, żeby jednakże przerw nie było zupełnie, nocna zmiana przychodziła na pół godziny od $8^{1}|_{2}$—9 i od 12—1, dzienna wypełniała jednę lukę w pracy nocnej. Bardzo więc naturalnie, że robotnicy wiecznie niewyspani przychodzili do fabryki, praca była mało intensywną, wypadki z ludźmi powtarzały się często, robotę psuto bezustanie. Dyrekcya zaprowadziła tedy trzy zmiany, pracujące po godzin ośm. W tym celu musiano wprawdzie więcej przyjąć robotników, proces fabrykacyi zmusił też do zakupu kilku maszyn i niektórych zmian technicznych. Ale rezultat był ten, że produkcya wzrosła znacznie, wyrób był dokładniejszy i, jak zaznacza dyrektor zakładu, wpływ na robotników był znakomity, przedewszystkiem ustało świętowanie w poniedziałki i ludzie zawsze trzeźwi przybywali do pracy. Nastąpiły więc wszystkie te skutki, których teoretycy się spodziewali.

W ostatnich miesiącach mamy do zanotowania podobny fakt. Pan Stugliński, dyrektor papierni księcia Paszkiewicza w Dobroduszu, w gubernii Mohilewskiej, przedsięwziął taki eksperyment i po całorocznem doświadczeniu ogłosił rezultaty w broszurze. Czasopismo „Sociale Praxis“ podało streszczenie broszury, z której czerpiemy następujące notatki. Przed reformą we wspomnianej fabryce pracowały dwie zmiany po 12 godzin, przyczem każda pracowała jeden tydzien we dnie, drugi w nocy. Większa część robotników odpoczynku niedzielnego nie zaznała wcale. Przytem w końcu tygodnia przy zmianie „szychty“ robotnicy pracowali bez przerwy 18 godzin. Naturalnie, że taki robotnik nie odznaczał się ani zdrowiem, ani zapasem sił, ani energią i pilnością, musiano więc opłacać cały legion majstrów i dozórców. Stosunki takie okazały się niemożliwe, fabryka wprowadziła 8 godzinny dzień, urządziła trzy zmiany. Udało się zredukować cokolwiek liczbę robotników w każdym oddziale. Zarobki zmniejszono tylko o 50 kopiejek miesięcznie; liczbę dozórców zmniejszono; koszta więc fabryki na najem wzrosły tylko o 1 proc; praca w niedzielę trwa bez przerwy i każda zmiana pracuje przy końcu tygodnia 12 godzin; co trzeci tydzień więc jedna zmiana ma wolną niedzielę. Wpływ na robotników, jak zaznacza p. Stugliński, był bardzo dodatni: stali się pracowitsi, zdrowsi, a wolnego czasu używają na polepszenie swego gospodarstwa domowego (przy fabryce istnieją domki z ogródkami dla robotników).

Tak więc mnożą się przykłady udanych eksperymentów. O nieudanych dotąd nie dowiedzieliśmy się nic. Powie nam kto, że to są pojedyńcze przykłady, które o rzeczy nie rozstrzygają, bo inaczej wiele fabrykantów poszłoby zą tym przykładem. Otóż przykłady te moglibyśmy znacznie pomnożyć. Ograniczamy się jednakże do zaznaczenia, że w Australii prawie ogólnym staje się dzień 8-mio godzinny; w Anglii minister wprowadził go dla robotników zatrudnionych w arsenałach. Za jego przykładem poszedł minister marynarki, rozporządziwszy, aby robotnicy przy budowie okrętów na werftach rządowych pracowali 8 godzin. We Włoszech od kwietnia roku bieżącego we wszystkich warsztatach, zostających pod rozkazami ministerium wojny, praca jest 8-mio godzinną; w Londynie i w Manchester robotnicy zatrudnieni przez miasto pracują 8 godzin.

Przytem prawie wszędzie, gdzie przystąpiono do redukcyi godzin pracy, rezultaty były pomyślne. Oto n. p. leży przed nami sprawozdanie inspektorów fabrycznych austryackich. Inspektor XIII okręgu (Brno) twierdzi, że w dwóch fabrykach tkalni jedwabiu i w jednej fabryce tkanin wełnianych zredukowano pracę z 11 na 10 godzin i kierownicy tych fabryk oświadczyli, że „wytwarza się lepiej i więcej niż dawniej“. Ten sam rezultat osiągnięto przy budowie okrętów na werfcie Kornenburg, gdzie zamiast 10 pracuje się 9 godzin. I przytem, jak pisze tamtejszy inspektor, zauważono, że w godzinach przedpołudniowych praca idzie raźniej i lepiej niż w popołudniowych. Dodaje ten urzędnik: „jest zresztą rzeczą zupełnie naturalną, że wydajność pracy robotnika musi być

Własow spojrzał na księcia i znowu zrobiło mu się błogo na duszy.

— Istotnie, na cóż tu rozliczania? — pomyślał — na przyszły raz zapłacę za niego, mam jeszcze trzy ruble.

Zaczął znowu śpiewać.

— Patrz, jak akademicy hulają, jest na co spojrzeć — mówi opasły woźnica, stojąc przy rogu ulicy do sąsiada. — Co oni potem będą wyprawiali. Prr... — nawołuje swego młodego rumaka, który się wybierał za trójkami — prr! stój!

V.

Była trzecia z rana, gdy gospodyni wesołego domu przy ulicy S., pani Marya, zabierała się do herbaty. Skończyła właśnie przegląd ganków na tyły wychodzących, z pokoikami zamkniętemi i sali rzęsiście oświetlonej, przepełnionej gośćmi. Zadowolona weszła do swego małego buduarku, na lewo od saloniku recepcyjnego. Na stole kipiał samowar, słój z konserwami, paszteciki na niebieskim talerzu czekały na nią. Przy oknie wisiały klatki z kanarkami. W kącie przed pięknemi obrazami świętych paliła się lampka.

— Nie mogę, rzeczywiście nie mogę, — mówi pani Marya, zwracając się do drobnego bladego człowieczyny, który w interesie do niej przybył. — Sam pan widzisz, jak dzisiaj wszystko zajęte; tłum studentów, wszystkie pokoje zajęte.

— To kara boża dla mnie, — odpowiada drobny człeczyna i stawia filiżankę z herbatą na stół, kręcąc się na krześle. — Cóż ja teraz pocznę.

— Co pan chcesz — mówi pani Marya — wiesz przecież gołąbeńku: gdzie nic nie ma, tam nawet dyabeł prawo traci. Wszystkie dziewczęta zatrudnione, nie mogę ostatnich zabierać z salonu... Przekonałeś się pan sam.

— A co za szczęście! Chłopcy młode, podchmielone i mają grosze. Pani jesteś piąta z rzędu, do której się udaję, co robić? Losy widocznie nie chcą. Byłbym panią rychlej odwiedził, lecz nie wiedziałem, że studenci są twoimi stałymi gośmi...

Mały człowieczek zamyślił się. Twarz jego była przemęczona, nieszczęśliwa, chorowita. Bezkrwistą wychudłą ręką gładził czerwonawą bródkę. Przy tłustej, pełnej zadowolenia gospodyni wydawał się jeszcze bardziej mizernym. Spojrzała na niego i mówi współczując:

— Gołąbeńku, nie smuć się tak, doprawdy nie warto. Pozwolisz jeszcze filiżaneczkę; właśnie byłam zajrzeć; jakieś towarzystwo od dawna już jest tutaj, lecz jeszcze są w pokoikach, Gołąbeńku, poczekaj jeszcze kilka minut, zobaczymy.

Pani Marya miała zwyczaj nazywać wszystkich „gołąbeńku“. Umiała słówko to wymawiać z nadzwyczajną czułością.

Mały człowieczek postanowił czekać i popijał drugą filiżankę herbaty. Ożywił się i opowiadał, jak przez jednę noc zarobił 3000 rubli prowizyi.

— A jednak licho się nam powodzi, życie nasze ciężkie — kończył z skargą w głosie. — Pani inaczej zupełnie żyjesz, przechadzasz się po domu, pijesz herbatę i robisz olbrzymie interesa, jak widzę.

Rzeczywiście, instytut pani Maryi robił tej nocy znakomite interesa.

Tymczasem drzwi się otworzyły i jedna z dziewcząt wpadła do pokoiku. Kark i ramiona były obnażone. Twarz jej pokryta była grubą warstwą blanżu. Zielona jedwabna suknia źle leżała.

— Studenci odchodzą — mówi szybko — zaraz odjeżdżają. Tak kazali pani powiedzieć.

— Dziękuję ci, gołąbeńku, — odpowiada pani Marya.

— Proszę...

„Dziewczyna“ znika.

— Widzisz pan, mówi pani Marya, do gościa — doczekałeś się pan, może zrobimy interes.

Wstała i wyszła lekkim pospiesznym krokiem z pokoju; idąc, zapaliła papierosa.

Mały człowieczek szedł za nią. Ożywił się cały a oczy jego strzelały niespokojnie na wszystkie strony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

większą, jeżeli przychodzi do pracy dobrze wypoczęty, fizycznie i duchowo świeży“.

Rzeczywiście jest to zupełnie naturalne. Pomimo to są i dziś jeszcze ludzie, co „zdrowym rozsądkiem“ dochodzą do takich rezultatów mniej więcej: praca fabryczna jest maszynową, a zatem pracą lekką, robotnik dozoruje tylko maszyny; nie od robotnika zależy wydajność, ale od maszyny; ergo — im dłużej robotnik wprawia maszynę w ruch, a do tego nie potrzeba ani sił ani inteligencyi, tem więcej maszyna wyrobi towaru. Otóż takie rozumowanie jest absolutnie fałszywe. Praca maszynowa jest pracą bardzo ciężką, szczególnie dziś. Dawniej n. p. szpulka selfaktora robiła 6000—8000 obrotów na minutę, dziś robi 10,000 do 12,000. Praca robotnika polega na nakładaniu szpulek i na pilnowaniu nici, odbywa on bezustanną wędrówkę za selfaktorem, który porusza się naprzód i w tył o kilkanaście kroków. Robi więc w ciągu dnia kilkanaście mil drogi, przyczem uwaga natężona jest zwróconą na cały szereg nici zwijających się z bajeczną szybkością, musi zauważyć każde zerwanie, każde splątanie się każdej z nitek, ręce są w ciągłym ruchu, korpus naprzód pochylony. Zaręczam, że mózg owego posiadacza zdrowego rozsądku wyczerpałby się przy takiej pracy bardzo szybko. Krosna tkackie uproszczono znakomicie, praca polega tylko na dozorowaniu, ale krosno to pracuje dziś z szybkością 2 razy większą niż przed laty 20, a 3 razy większą niż przed laty 50-ciu. Robotnik dozoruje dziś nie jednego a 2 i 3 krosien. Jedna chwila nieuwagi i w tkaninie są skazy. Bezustanna uwaga, bezustanne przebieganie od krosna do krosna, bezustanna, jakkolwiek nie ciężka, praca rąk. Maszyna drukarska n. p. drukuje dziś 1000 metrów perkalu w czasie, w którym dawniej drukowała 20. Maszyna drukarska w drukarni książek również porusza się z bajeczną szybkością. Stanca żelazna bije dziś 6 razy szybciej i t. d. i t. d. Rezultat jest więc ten, że robotnicy przy tych maszynach, jakkolwiek nie natężają swoich mięśni tak, jak n. p. rolnik przy uprawie ziemi, mają pracę wyczerpującą ich siły nerwowe, a to jest pracą cięższą, o czem wie każdy hygienista. Nie zapominajmy także, że praca w warsztatach zawsze ujemnie wpływa na zdrowie. Kamieniarze dostają suchot w 30 roku prawie bez wyjątku, podobnie szlifierze; robotnicy w przędzalniach i tkalniach oddychają pyłem bawełnianym i barwnikami, robotnicy w hutach szklanych ślepną i dostają suchot, robotnicy w przemyśle chemicznym zatruwają się powoli i dostają niechybnie reumatyzmu.

Nie prawdą też jest, że inteligencya dziś jest niepotrzebną robotnikowi. Kto pracował w fabryce chociaż przez miesiąc, wie, że to nonsens. Maszyna jest skomplikowanem mocno narzędziem i nieumiejętna ręka nie jest w stanie nią kierować. Wszyscy technicy n. p. doskonale wiedzą, że wyższość przemysłu angielskiego nad niemieckim, polskiego nad rosyjskim polega nie na maszynach, bo te są zupełnie te same tam i tu, lecz na wyższej inteligencyi robotnika angielskiego nad niemieckim, polskiego nad rosyjskim, na wyższości kultury, a więc robotnikowi maszynowemu prócz rąk trzeba mózgu działającego porządnie. Jeżeli tak jest, dochodzimy do prostego wziosku: człowiek w fabryce pracuje dziś intensywniej niż dawniej, pracuje w warunkach więcej niszczących zdrowie, a zatem musi pracować krócej, bo się wyczerpie, musi mieć więcej wolnego czasu, by odetchnąć świeżem powietrzem, by pozwolić na odpoczynek skołatanym nerwom i wyczerpanemu mózgowi.

Odpowiadają jednakże na to niektórzy: robotnik dzisiejszy, jeżeli dać mu więcej czasu, będzie więcej siedział w szynku, a zatem nie poprawi lecz pogorszy sprawę skrócenia czasu roboczego; jeżeli zaś robotnik będzie pracowitym bardzo i gospodarnym, to zwolniony z pracy fabrycznej będzie zajmował się w domu tak zwaną „fuszerką“, żeby mieć tak zwany nadetatowy zarobek. Co do pierwszego twierdzenia fałsz jego stwierdzonym został przez wspomniane eksperymenty, a przytem faktem jest dowiedzionym, że najwięcej pije robotnik, który najdłużej pracuje. Robotnik angielski czyta, chodzi na przechadzki, gimnastykuje się i bawi, małokulturalny robotnik rosyjski upija się i trwoni czas. Co do drugiego zarzutu, to upada on przez to samo, że robotnik fabryczny nie jest rzemieślnikiem, warsztatu nie ma i „fuszerować“ już przez to samo nie może.

Jeżeli więc tak jest, jeżeli skrócenie dnia roboczego fabrykantom szkody nie przynosi, dla czegoż z takim uporem sprzeciwiają się oni każdemu usiłowaniu w tym kierunku? Dla tego, że reguła, iż krótsza praca jest wydajniejszą stosuje się tylko do zakładów większych, stojących na wyżynie tegoczesnej techniki, że skrócenie dnia wymaga częstokroć nowych nakładów, na które nie każdy przedsiębiorca zdobyć się może, dla tego, że wprowadzenie takich zmian wymaga po kierowniku fabryki inteligencyi i umiejętności, a dziś często przedsiębiorcy, zarzucający robotnikom swoim głupotę, sami nią grzeszą w swoim zakresie, dla tego nareszcie, że wrodzona apatya każe machinalnie bronić się przed nową ideą, jak przed natrętną muchą. Dla tego twierdzimy i tylko dla tego mamy dziś stosunki takie, że pan Rieck w czasopiśmie „Zukunft“ w artykule „Wenn ich Kaiser wäre“ może opisywać taką rozmowę z dziećmi sąsiada wyrobnika: „Dzieci pójdźcie do rodziców, żeby was umyli.“ — „Ojca ni matki nie ma w domu.“ — „A gdzie są?“ — „Ojciec przy budowie a matka w fabryce.“ — „A kiedyż przychodzą do domu?“ — „Kiedy my spać idziemy.“ — „Kiedyż jesteście razem z matką i z ojcem?“ — „Tylko w niedzielę. Ojciec codzień o piątej wychodzi, a matka o pół do dziewiątej. Ojciec ma milę drogi do budowli, a matka pięć kwadransy do fabryki.“

Pan Rieck powiada, że go te dziecinne odpowiedzi grozą przejęły. Piszący te słowa mógłby mu wskazać tysiące innych rzeczy ciekawych i grozą przejmujących, tysiące obrazków z życia zaczerpniętych, wskazujących na to, że, jak powiada p. Rieck, nasz system gospodarczy powinien znaleść miejsce odpowiednie i godne siebie w muzeum starożytności obok siekiery kamiennej, bo jak ona przeżył swój czas. Ale na cóż to się zdało? Mistrz słowa, genialny ksiądz Staszyc, kiedyś płomiennemi słowy opisywał stan „poddanych“ w Polsce, cudnemi barwy malował obraz tego, coby na miejsce starych stosunków można było stworzyć. Słowa jego przebrzmiały. Trzeba było olbrzymich wstrząśnień, klęsk olbrzymich, spadłych na Europę, żeby uwolnić poddanych.

Czy i teraz tak będzie? Obiecałem czytelnikom na wstępie do moich notatek podawać fakty. Fakty doprowadzają do pytań. Nad odpowiedzią czytelnik sam zechce się zastanowić.

J. B. M.



JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

Listy te, których druk rozpoczynamy w numerze dzisiejszym, ogłosił Jerzy Brandes w kopenhagskim dzienniku „Politiken“. Znakomity Duńczyk zestawił w pięknych korespondencyach swoich wrażenia, zebrane w roku ubiegłym podczas pobytu w Królestwie Polskiem, a charakterystyka stosunków naszych i działaczy rosyjskich, skreślona świetnem piórem słynnego pisarza, zjednała artykułom tym rozgłos niezwykły.

I.

Wyjechaliśmy z Warszawy po południu, pozostawiając za sobą miasto w promieniach żarzącego słońca. Ludzie na ulicach posuwali się zwolna, szukając cienia pod ścianami domów — wojskowi: piechota, kozacy i żandarmi, byli w letniem płóciennem umundurowaniu. W pociągu spotkaliśmy dużo znajomych Polaków. Jedni dopiero co wrócili do domu z wycieczek w Tatry i kuracyi w czeskich kąpielach, inni właśnie byli w podróży; było też między nimi kilku okolicznych obywateli. W korytarzu potworzyły się grupy rozmawiających żywo, śmiano się, żartowano i czas przeleciał niepostrzeżenie. Na stacyi czekały na nas powozy, jedne dla zabrania całego naszego towarzystwa, inne zaś pod rzeczy. Czwórka dzielnych koni ruszyła z miejsca, unosząc nas w ten piękny, pogodny wieczór letni po doskonałych szosach jeszcze z Napoleońskich czasów, później po ciężkich, piaszczystych drogach, na których koła zapadały głęboko, wreszcie przez nieskończenie długą aleję wyniosłych topoli.

Towarzysz mój opowiadał nam przez ten czas o rozmowach swoich i stosunkach z jenerałgubernatorem warszawskim, którego i ja miałem przyjemność poznać niegdyś osobiście. Wezwał on go do siebie po apoplektycznym ataku, jakiemu uległ w zeszłym roku i prosił o towarzyszenie sobie w podróży. Hurko jest niewątpliwie wybitniejszym jako jenerał, niż jako ogólno-ludzka inteligencya. Wszędzie, skądkolwiek wyjeżdżali, pozostawiał za sobą parę butów, będąc przekonanym, iż był to środek konieczny, by wrócić kiedyś jeszcze żywym do tej miejscowości. Henryk zrobił mu uwagę, że nawet w razie, gdyby zapomniana para butów miała być głównym warunkiem do ujrzenia na nowo opuszczonego miejsca, to jednak wątpliwem jest, czy przez umyślne pozostawienie można osiągnąć równy rezultat. Hurko odpowiedział mu na to, że jego doświadczenie bezwzględnie utwierdziło go w tem przekonaniu; ilekroć miał się znaleść w niebezpieczeństwie, zostawiał zawsze buty za sobą i w ten sposób rozsiał w granicach Rosyi, w Turcyi i w Azyi ni mniej ni więcej jak sto dwanaście par. Niejednokrotnie to, co się nam zdaje być bohaterstwem, jest tylko taką niewzruszoną wiarą — w buty!

Jechaliśmy i jechali wciąż — ściemniło się i gwiazdy ukazały się na niebie — mijaliśmy nędzne miasteczka i jeszcze nędzniejsze od nich wioski, pobielone domki z pruskiego muru i zwykłe, słomą kryte, drewniane chaty, przed któremi uwijały się gromady bosych dzieciaków; konie były niezmordowane, a aleja z topoli zdawała się nie mieć końca. Jak daleko zasięgnąć wzrokiem, nigdzie ani śladu dworskich zabudowań na kilka mil wokoło; zacząłem utrzymywać, że ów dwór, do którego dążymy, nie istnieje chyba wcale, że prawdopodobnie zakreślamy tylko olbrzymi krąg, by nad ranem znaleść się na przebytej przez nas drodze i wjechać powolnym krokiem, znużeni, na tę samą stacyę, którąśmy opuścili. Duże oczy pani Maryi, wesołe, śmiejące, błysnęły w ciemności, a dwie młode panienki, jadące z nami na wieś jako goście, przytakiwały mi i, by sobie długą podróż urozmaicić, zaczęły opowiadać różne historye, któremi się ubawiły do tego stopnia, że się potem wstrzymać od śmiechu nie mogły. Jedno zabawne opowiadanie wywoływało inne i wśród aromatycynych pól i przejrzystych ciemności nocy letniej, podczas gdy powietrze stawało się coraz chłodniejszem i bardziej orzeźwiającem, przelatywał powóz nasz napełniony śmiechem i wesołością. Zdawałoby się, że w nim się znajdują sami szczęśliwi i weseli ludzie.

Nareszcie w grupach drzew mignęło nam coś białego i wkrótce dojrzeliśmy zarysy obszernego wiejskiego dworu i otaczającego go rozległego ogrodu. Powóz zatoczył koło, zawrócił w otwartą bramę i stanął. W jasno oświetlonej sieni zebraną była cała służba na powitanie oczekiwanych państwa, a gdy każdy z przybyłych w przeznaczonym dlań pokoju ogarnął się trochę po podróży, całe towarzystwo zgromadziło się w sali jadalnej przy obiedzie, który musiano odłożyć na tak późną porę. Mile uderzyła oczy nasze wielka obfitość kwiatów i stół z zastawą elegancką i wspaniałą; zasiedliśmy do obiadu złożonego z wyśmienitych

potraw, po których popijaliśmy polskie wino szampańskie, t. j. raczej francuskie, ale przywożone do kraju niedokończone, by otrzymać tu już ostatnią przyprawę, bo inaczej cło samo wynosi po 2 rs. 50 kop. od butelki.

Od czasu jak bawię tutaj poznałem okolicę i miejscowe warunki, tem lepiej, iż żaden powiew z dalszego świata nie zakłócił mego spokoju. Niepodobna mi było otrzymać dotychczas ani jednego listu, ani jednej gazety, wszystkie adresowane do mnie pisma odsyłane są do cenzury, a listy zatrzymywane w Warszawie. Nie mam żadnych wiadomości o świecie, mianowicie o Danii, oprócz tego, co uda mi się znaleść w telegramach „Gazety polskiej“, a muszę przyznać, iż niezbyt to wiele. Telegrafowałem już o to, rozpisywałem listy, posyłałem umyślnego do zarządu pocztowego w Warszawie — naprożno; wszystko rozbija się o słynną rosyjską biurokracyę. Czyż bo gdziekolwiek na świecie, nawet w Turcyi, spotyka się tak szeroko rozwinięte prawo bezprawia jak w Rosyi?

Poza granicami pięknego ogrodu rozciąga się rozległy, płaski krajobraz, powabny przy całej swej prostocie. Przedstawia się on bogato, bo widać same uprawne pola, a wysokie topole i brzozy, wierzby i lipy ocieniające drogi, dodają mu wdzięku. Największą zaś jego ozdobą są w obecnej chwili olbrzymie sterty zboża, ustawione w sposób u nas nieznany, jakby starożytne okrągłe wieże z dość płaskiemi, śpiczasto zakończonemi dachami. Dach ten jaśnieje w słońcu złocistą barwą, podczas gdy wieża sama ma odcień ciemniejszy, bo tam nie widać kłosów w całej ich długości; sterty te robią niezwykły efekt i ogromnie ożywiają pola. Zresztą rozległą równinę przerywają tylko porozrzucane tu i owdzie wiatraki, drzewa, któremi obsadzono drogi, w oddali kościół jakiś lub lasek. Dziewczęta w jaskrawych chustkach na głowach uwijają się wszędzie, zgrabiając resztki zboża. Urządzenie całego domu jest bez zarzutu — robi on wrażenie oazy cywilizacyi wśród tej prostoty i pierwotnego bytu. Wszystko tu wyszukane i urządzone ze smakiem, a co mi szczególniej przemawia do serca to olbrzymia biblioteka, tak wyborowa, pouczająca i prześlicznie utrzymana, że trudno jest znaleść coś podobnego w prywatnym domu, chociażby nawet w stolicach; każdy pokój ma właściwą sobie, oryginalną cechę, a parter kończy się wspaniałą oranżeryą z palmami. Dom ten odbija rażąco od mieszkań wokoło. Włościanie, potrzebujący pomocy lub rady, nie udają się o nią do księdza, który zresztą jest bardzo zacnym, młodym człowiekiem, (odbywał studya w Rzymie i mówi trochę po włosku) ale idą wprost do dziedziczki do dworu, a trzeba przyznać, iż tak pierwotną jest w nich ludzka natura i tak pozbawioną poczucia godności osobistej, że czego im nie dadzą, to sami sobie ukradną. Kradną oni wszystko, co tylko się da ukraść, począwszy od kury i ogrodniczych narzędzi, a kończąc na drzewach w lesie, które wywożą ukradkiem setkami, z tą większą gorliwością, że nie są za to karani. Pani Marya twierdzi zwykle: „cóż zrobić, oni są tak biedni, to ich tłomaczy...“ Upał jest, ale rzadko bywa on zbyt uciążliwem i w każdej chwili mamy sposobność użycia doskonałej kąpieli. Muchy tylko i komary dokuczają trochę, ale zabezpieczono się przeciw nim przez pełne dowcipu urządzenie, że wewnętrzne okna mają w ramach zamiast szyb naciągniętą cieniuchną, drucianą siatkę, która pozwala przez cały dzień siedzieć przy otwartem oknie i używać świeżego powietrza, bez obawy, by jakikolwiek owad wcisnął się do pokoju. Nigdzie, nawet w Holandyi, nie widziałem takiej czystości i porządku jak tutaj. Stanowi on wydatną różnicę pomiędzy klasą wykształconą a pospólstwem w Polsce. Codziennie, a nawet często parę razy na dzień doprowadza się cały dom do porządku, dwoje lub troje służących zabiera się jednocześnie do uprzątnięcia jednego pokoju i w kwadrans cała robota skończona. Pomiędzy gośćmi, przepełniającymi dom nieustannie, mieliśmy wczoraj kilku malarzy polskich z Monachium. Z przybyciem tych panów doszła do nas woń farb, pracowni, oraz powiew szerszego świata z artystycznej ich siedziby, dziś znów przyjechał tu redaktor jednego z większych pism w Warszawie.

Przygnębiającem jest poczucie, do jakiego stopnia ucisk rosyjski wzmógł się i umocnił od czasu mojej ostatniej bytności. Wówczas otrzymywało się pisma pod opaską, bez uprzedniego odsyłania ich do cenzury, gdy były drukowane w języku, którego nie rozumiano tutaj, obecnie jest to niedozwolonem i pisma te muszą być przesłane do centralnego komitetu w Petersburgu. Francuskie pisma otrzymujemy tu po ośmiu dniach dopiero a jakże dużo w nich zaczernionych ustępów i artykułów! Niekiedy całe numera tak klerykalnego i konserwatywnego pisma jak „Figaro“ są konfiskowane; w „La vie parisienne“ zamazują wszystko, co nie jest w zgodzie z pojęciami rosyjskiego rządu o moralności — pokaźna zaś tego ilość.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kwestyonaryusz

w sprawie francuzko-niemieckiej przyjaźni.

Czasopisma „Neue deutsche Rundschau“ i „Mercure de Paris“ rozesłały przed niedawnym czasem kwestyonaryusz, zawierający dwa interesujące pytania: 1) O ile jest możliwem zbliżenie Francyi i Niemiec na polu umysłowem i ekonomicznem? 2) Jakie środki należy przedsięwziąć, by utorować drogę do tych pokojowych stosunków?

Przekonani, że odpowiedzi udzielone na powyższe pytania przez wybitnych reprezentantów nauki i sztuki, zainteresują czytelników naszych, podajemy poniżej w streszczeniu wiązankę najcharakterystyczniejszych głosów. Z jednej strony jubileuszowe fanfary Sedanu, z drugiej dźwięki pokoju; zauważyć jednak wypada, że zwyciężeni okazują się pohopniejszymi do zgody niż zwycięzcy.

* * *

Paul Adam. Jesteśmy duchowymi synami Goethego i Hegla pomimo odziedziczonego po Montaigne'u pyrrhonizmu. Niemcy jest to kraj, od którego najwięcej zapożyczyliśmy na schyłku tego wieku. W krwawym uścisku odbywa się zapłodnienie ducha. Przyjęcie, którego doznali we Francyi Wagner, Nietzsche, Hauptmann i Nordau — wszystko to są fakty pocieszające dla tych, którzy gorąco życzyliby sobie zaniku barbarzyństwa. Niechaj więc powstanie niemiecko-francuzka liga, zmierzająca ku zniesieniu międzynarodowej waśni.

J. Allemane, jako wróg rozterek międzynarodowych, przyklaskuje pięknej myśli poruszonej w kwestyonaryuszu. Popularyzacya najlepszych utworów filozoficznych i artystycznych obydwu narodów, powołanie do życia organizacyi, łagodzących konkurencyą, oto niektóre środki, mogące w pewnym stopniu przyczynić się do zwalenia chińskiego muru nieporozumień, dzielących dwa ościenne narody.

Maurice Barrès. Zadziwiające są rezultaty nieustannej cyrkulacyi i dyffuzyi idei pomiędzy obydwu narodami. Niemiecki geniusz uległ wpływowi francuzkiej rzeczywistości. Heine, Schopenhauer i Nietzsche znaleźli we Francyi drugą ojczyznę, Taine i Renan są krewniakami niemieckich metafizyków.

Charles Gide jest zdania, iż pierwszy krok powinni zrobić Francuzi, gdyż bezwarunkowo 10 razy większa ilość Niemców mówi po francuzku niż odwrotnie. Należy pomyśleć o gorliwszem szerzeniu niemieckiego języka we Francyi, niż to robiono dotychczas.

Jean Grave. Różnice rasowe są tylko rezultatem otoczenia i stanowiska w przestrzeni i czasie. Narodowość jest to termin geograficzny. Istnieje właściwie jedna rasa. Ziemia jest tak rozległą, że jest nonsensem walczyć o jakiś szmat gruntu. Wojna jest szaleństwem, gdyż wynagradza jednę ze stron kosztem nietylko zwyciężonego lecz i zwycięzcy. Gdyby dzisiejsze narody stały na wysokości prawdziwej cywilizacyi, nie wahałyby się ani na chwilę zamienić dotychczasowej nienawiści na przyjaźń.

J. K. Huysmans. Czy istnieje wogóle jeszcze kwestya patryotyczna? Przed kilkoma laty powiedział, iż człowiek z Lipska jest mu milszym niż z Marseille. Obecnie budzi w nim jednakowy wstręt nowoczesny człowiek jakiejkolwiek narodowości.

Maurice Maeterlinck. Duchowa wymiana tworzy bogactwo. Po upływie pewnego czasu każda strona widzi, iż otrzymała więcej niż dała. Czem byłaby dzisiejsza francuzka literatura bez romantycznego ruchu 1831 r. Lecz Goethe nie stworzyłby Iphigenii, gdyby Francuzi nie wtajemniczyli go w ducha greckiego piękna. Metafizyka była największym przewrotem w rozwoju umysłowym Europy. Jako środek zaleca on uczenie się języka sąsiada.

Th. Ribot pisze się na polepszenie stosunków pomiędzy Francyą a Niemcami. Sam posługuje się wciąż pracami Niemców, podziwiając zamiłowanie tego narodu do nauki, jego poświęcenie i cierpliwość, gdy idzie o niewdzięczne i wymagające wiele czasu prace. Tłomaczenia i krytyki jest to najlepszy środek zaznajomienia jednego narodu z drugim. Już 17 stuleciu, obfitującemu w krwawe wojny, przyświecała idea o „République des lettres“. Czyżby to dziś było mniej możliwem?

Laurent Tailhade rumieni się, gdy widzi, jak żołdak wdziera się do sanktuaryum sztuki. Od 80 lat Niemcy są nauczycielami Francuzów. Kant, Hegel i Szopenhauer nauczyli ich logiki, Niebuhr, Mommsen i Kreuzer historyi, olbrzym Goethe jest syntezą nowoczesnego ducha. Niemcy na nowo wynalazły dramat. Co do środków, o które zapytuje kwestyonaryusz, najlepiej byłoby wybór takowych pozostawić cesarzowi Wilhelmowi II. Można zalecić studyowanie niemieckiego języka i wysyłanie uczniów francuzkich szkół do Niemiec.

T. de Wyzewa. Sudermann już został adoptowanym przez Francyę. Wagner, Nietzsche, Teodor Fontane i Hauptmann cieszą się tam wielkiem powodzeniem. Z nowości pozostają tylko jeszcze nieznane romanse Holländera i nowele Herm. Bahra, sympatyczne opery Rich. Straussa, szatańskie poezye Fuchsa, allegorye Stucka i wodewile Blumenthala, lecz wszystko to niestety jest już w drodze do Paryża. Niemiecki duch narobił już wiele szkody w ostatnich 20 latach. Francuzi pod wpływem swego sąsiada stracili zamiłowanie do porządku, przejrzystości myślenia i elegancyi. Francuzkie bulwary są już tylko szeregiem knajp; dystrybucye ozdabiają okna wystawowe pociągającemi obrazkami, podobnie jak to się dzieje po prawej stronie Renu; francuzkie panny w Moulin Rouge zaczynają się ubierać z gustem, godnym pięknych cór Berlina. Sam de Wyzewa, zaznajamiając swych rodaków (jest to zresztą Polak) z ludźmi i pracami innych narodowości, nie myślał bynajmniej stawiać ich jako wzór Francuzom. Po kilka tygodni gawędzi się z Sudermanem i Strindbergiem o różnych kwestyach, jak gdyby takich osobistości nie można było znaleść wśród rodowitych Francuzów.

Otto Julius Birnbaum. W starożytności była wojna więcej arystokratyczną. Nowsze czasy nadały jej charakter demokratyczny. Należy powrócić do starych czasów wysyłając na walkę królów umysłu i sztuki. Potrafią oni nietylko bić się, lecz i kochać. Ponieważ siła mistrza polega na jego przekonywaniu innych, zachodzi wielkie prawdopodobieństwo, iż zapaśnicy powróciwszy z niekrwawego pojedynku, pociągną za sobą masy i nawrócą je na łono religii miłości, nie zważając na złorzeczenia pana Chauvin i Michała Rasselspiessa.

Lujo Brentano. Misya Zachodniej Europy jest rzeczą o wiele ważniejszą od spraw konkurencyi. Zdobycze cywilizacyi przenikają do coraz niższych warstw. Żadne zaś państwo nie jest w stanie urzeczywistnić tej dążności wieku, nie korzystając z obcej pomocy. Czyż trzeba lepszych dowodów jedności kultury Zachodniej Europy? Wielu Francuzów jest już współpracownikami niemieckich pism i odwrotnie. Z każdym rokiem rośnie ilość Francuzów, przybywających w celu uczenia się do Niemiec. Będzie

rzeczą nietrudną rozwijać dalej to, co już istnieje w zarodku.

Fel. Dahn. Godną jest ubolewania nienawiść dwu narodów, lecz winni są stanowczo Francuzi. Nie mogą oni wybaczyć, iż zostali ukarani za swe bezczelne zaczepki. Jeszcze w początku stulecia wołali „Revanche pour Waterloo“. Krzyczeli nawet później w niebogłosy „Revanche pour Sadowa“, gdzie nie ponieśli żadnych strat. Płonnemi są wszelkie nadzieje przebłagania Francuzów. Ferry upadł, będąc podejrzywanym o konszachty z Bismarckiem. Nazajutrz po ułaskawieniu dwu francuzkich szpiegów przez Wilhelma II prasa zaczęła trąbić, iż „taki cesarz“ zwróci Alzacyą i Lotaryngią. Ba! wołano już, iż Ren powinien zostać naturalną granicą Francyi. Czyżby Niemcy miały się ubiegać o łaski Francyi, dostając ciągle odprawę? Nigdy!

M. Gumplowicz (mylnie uważany za Niemca). Odpowiedź na postawione pytanie może być daną tylko z szerszego stanowiska. Między państwami Zach. Europy odbywa się proces asymilacyi, który jest powtórzeniem na wyższym stopniu tego, co niegdyś spoiło w całość dzisiejsze państwa. Już się wówczas pojawiły pierwsze początki tego procesu, jakkolwiek krzyżowane przez polityczne intermezza. Pocóż więc łamać sobie głowę nad sposobami wyręczenia Klio, która najdziwniejszemi drogami osięga swoje cele. Z tego punktu widzenia łatwo wskazać środki, o które zapytuje kwestyonaryusz. Istnieje właściwie jeden środek: szerzenie naukowego poglądu, iż pojednanie dwu narodów wypływa z istoty historyi i jako konieczność nakazana przez naturę rzeczy musi nastąpić chociażby wbrew woli jednostek.

Max Halbe. Byłoby to rozwiązaniem kwadratury koła szukać z jednej strony zbliżenia się na polu umysłowem i ekonomicznem, a z drugiej kąsać się i wygrażać orężem. Żaden naród nie jest zdolnym do takiej podwójnej buchalteryi. Niechaj więc polityka zrobi pierwszy krok.

Fryd. Spielhagen. Ci, co „wychowanie ludzkości“ w znaczeniu Lessingowskiem nie uważają za myśl godną szaleńca, będą sobie serdecznie życzyli zbliżenia a nawet przyjaźni dwu narodów. Wyraża on przekonanie, iż ani jeden głos nie stanie w obronie obecnej smutnej sytuacyi. Chociażby zdanie jednostek miało pozostać głosem wołającym na puszczy, jest obowiązkiem każdego szerzyć ewangelią miłości. Zachodzi tylko obawa, że po tamtej stronie Renu wszelkie pokojowe aspiracye będą tłomaczone jako *captatio benevolentine.*

Adolf Wagner. Zbliżenie byłoby korzystnem dla obydwu stron, które wzajemnie się dopełniają. Dwa te narody, stanowiące punkt ciężkości w rozwoju kultury, powinny stworzyć jądro wielkiej organizacyi gospodarczej. Takie same dopełnienie widzimy i pod względem umysłu. Francuzki *ésprit*, mistrzowstwo formy, rzutkość umysłu po jednej stronie, siła zaś spekulacyi, wszechstronność umysłu i objektywne traktowanie rzeczy po drugiej, — są to zalety, którémi się nie może pochwalić z wyjątkiem Francuzów i Niemców ani jeden naród w Europie. Lecz przedewszystkiem trzeba załatwić rachunki polityczne. Dla Niemiec nie istnieje już wcale kwestya alzackolotaryngska. Pokój frankfurtski jest faktem niezachwianym. Niech więc mu i Francuzi dadzą swą sankcyę. Niech przestaną widzieć w wojnie 1870 r., w której dali niezaprzeczone dowody męztwa, ciemną plamę na swej przeszłości. Niech porzucą myśl odwetu. Gdy Francya zdobędzie się na tyle cywilnej odwagi, można będzie mówić o pojednaniu dwu zwaśnionych narodów. *Urb.*

KRONIKA LONDYNSKA.

22-go września 1895.

(Podróż lorda majora do Francyi. — Najświeższy pomysł pomysłowego pana Stead'a.)

Z początkiem listopada upływa peryod jednorocznego urzędowania burmistrza handlowej metropoli londyńskiej — City. Idąc przeto śladami swych poprzedników, Sir Józef Renals starał się z pomocą swych milionów jak najpiękniej przedstawić światu złote „serce Londynu“ oraz, póki nadarza się sposobność, zabawić się w króla. Nie dość było mu poczęstować obiadem Szazadę, świetnie tu przyjmowanego syna emira Afganistanu, wybrał się on na wystawę do Bordeaux wraz z swą czerwoną karocą, złotymi łańcuchami, swą żoną i w peruki zdobnymi lokajami. Na domiar zaprosił prezydenta Francyi do Londynu. Sfery wyższe z obawą patrzały na rozbawionego burmistrza, który naraz pokochał Francyą gwałtowniej, niż zezwala na to Salisbury i polityka. Lecz lord-major wsparty na przywilejach przysługujących mu, nie wiele się troszczył o to i pojechał. Zabawił się doskonale, wrócił oczarowany przyjęciem władz, ludności a zwłaszcza prezydentem i zachowa z pewnością jak najmilsze wspomnienie do końca życia. Jest jednakże wątpliwem, czy doczeka się odwiedzin prezydenta, który radby na inwitacyi lordamajora znaleźć także podpis królowej.

Wiadomo ogólnie, że redaktor „Przeglądu Przeglądów“ p. W. T. Stead jest mężem obfitującym w pomysły. Tak jak za włożeniem w automatyczną maszynę pensa wydobywa się ładnie zawinięty karmelek, za pół szylinga miesięcznie można otrzymać nową ideę pana Steada. Nie ma sfery, w którą umysł jego by nie wtargnął i tak np. udzielał rad, jakie kucharki należy przyjmować, projektował gremialne pielgrzymki do miejsc urodzenia wielkich ludzi, komunikował wyniki swych obserwacyi z krainy pozaświatowej, życzył sobie utworzyć kompendium literatury, nad któremby królował, kusił się o wynalezienie hygieniczno-medycznych środków przeciw alkoholizmowi, udzielał bezpłatnie i osobiście dobrych rad ojcu świętemu, wizytował zmarłego cara, a wróciwszy olśniony, począł stale robić Rosyi reklamę. Tak tedy robił co się dało. Większość pomysłów poszła do kosza i nie wydobędzie ich żadna siła ludzka na światło dzienne, ale mniejsza o to. Jeżeli społeczność nie miała dotąd pożytku, kasa redakcyjna zasililá się przyzwoicie. Do rzędu niezliczonych projektów przybył teraz pomysł założenia biura, za którego pośrednictwem możnaby otrzymać gotowe dziecko. Jak się okazuje z jednej opublikowanej w tym katolickim organie oferty można nawet ewentualnie dostać w dodatku matkę dziecka. Otóż bowiem jedna z matek, mająca na zbyciu niemowlę nieznanego ojca, prócz opisu potomka dodaje swój, zapewniając, że „jest młoda, urodziwa i muzykalna“. Nie dość na tem; p. Stead jako radykalista nie zatrzymuje się na pół drogi. Z chwilą gdy biuro: „Baby Exchange“ okaże się praktycznem, zamierza robić konkurencyą biurom matrymonialnym. I zgłosiło się już kilku kawalerów poszukujących towarzyszki życia, między innymi duchowny kościoła angli-kańskiego, który prócz małżonki potrzebuje czterysta funtów szterlingów rocznej renty. Interes byłby odrazu popłynął rączym strumieniem, bo kandydatek hymenu nawet na eksport jest mnóstwo, ale w tem sęk, że trudno — o renty. A brak dotąd panu Stead takich mężczyzn, którzyby tylko potrzebowali żony. I nie dość na tem jeszcze. Projektowana instytucya ma pośredniczyć także w wymianie — mężów i żon (sic). Trybunał rozwodowy bowiem jest przystępnym tylko dla osób zamożnych. O home, sweet home!... Nie będąc socyologiem nie umiem powiedzieć, ile dobra wyniknie z tej idei pana Steada dla kraju — ale wydaje mi się ona świetnym pomysłem do farsy. Wyobraźmy sobie bowiem krzykliwe paczki z niemowlętami, tarzające się po redakcyjnych stołach, strojne matki posługujące się gazetami jako pieluszkami, panny z świadectwami od bankierów i lekarzy, żony wiodące małżonków na targ matrymonialny. Ileż tu sprzecznych interesów, jakie szerokie pole dla wodewilisty, którego fantazya nurzać się może tu rozkosznie i wydobywać sytuacye i sceny komiczne bez końca. Sztuka na tem tle byłaby sławną reklamą dla Exchange, i niemniej dobrze polecałaby głowę pana Steada i dzielny „Przegląd Przeglądów“.

Nobody.



Ciekawe doświadczenia Picteta.

Znany szwajcarski uczony, Pictet, którego imię tak ściśle związane jest z metodami skraplania gazów trwałych, ostatniemi czasy badał wpływ nizkiej temperatury na różne organizmy. Do tego celu służyły mu ssaki, ptaki, żaby, węże, owady, wymoczki, mikroby i t. d. Poddawane doświadczeniu indywiduum wprowadzono do szczelnie zamkniętego naczynia, którego powietrze ochładzano stopniowo aż do 200 stopni niżej zera. Pictet obserwował wtedy i notował zmiany, jakie zdradzał puls, oddech, wymiana materyi i utrata powolna ciepła wewnętrznego do czasu zupełnego zmarznięcia. Poddał on wreszcie temu samemu doświadczeniu swój własny organizm, wyłączając organa oddechowe i przekonał się o wysokim stopniu odporności, jaką organizm człowieka względem mrozu stawić może; musiał tylko skrupulatnie unikać dotykania metalowych części naczynia, gdyż okoliczność ta powodowała dotkliwe, do zagojenia trudne rany.

Z liczby doświadczeń, z których znaczna część dokonaną została przy współudziale innych uczonych, jak: Kazimierz de Landolle, Sarasin, E. Jung, Du Bois-Reymond, Bertin, opiszemy niektóre. Najciekawszem z nich jest doświadczenie z psem, ważącym 8,5 kilogr. Zwierzę wprowadzono do naczynia wtedy, kiedy temperatura w niem wykazywała —92 stopnie. Podpadająca reakcya ciała nastąpiła natychmiast; oddech w przeciągu 12—13 minut staje się szybszym: termometr umieszczony pod łopatką podnosi się o pół stopnia i opada dopiero po upływie 25 minut do pierwotnego poziomu. Pies pożera teraz chciwie zostawiony w naczyniu chleb, którym wprzód gardził. Okoliczność ta wykazuje, że chodzi tu o przysporzenie organizmowi nowego zapasu ciepła przez proces trawienia. Dopiero po upływie następnych 40 minut członki zaczynają marznąć, gdy tymczasem temperatura ciała pozostaje jeszcze stałą w ciągu godziny. Pies dostaje znów około 100 gramów chleba i takowy wchłania poprostu. Tym sposobem, przez szybszy oddech i powyższe spożycie nowej porcyi chleba, temperatura ciała podniosła się znów cokolwiek i stale w ciągu półtorej godziny utrzymywała. Teraz jednak termometr opada szybko i przed upływem dwóch godzin od początku doświadczenia pokazuje już tylko 28 stopni ciepła. Zwierzę traci przytomność i wydobywane bywa z naczynia martwe z odmarzniętemi łapami.

Większą bez porównania wytrzymałość na zimno zdradzają zwierzęta zimno-krwiste. Trudno zaiste uwierzyć, aby osobniki tych kategoryi, uległe zmarznięciu, mogły odżyć na nowo. A jednak nie ulega to wątpliwości. Żaby np. wytrzymywały w stanie zamarzniętym temperaturę 28 stopni zimna. Większość z nich jednak po obniżeniu temperatury do 30 i 35 stopni nie wracała do życia. Węże podobnie łatwo znoszą 25 do 30 stopni zimna. Ślimaki, o ile skorupa ich nie była uszkodzoną, żyły w przeciągu kilku dni w temperaturze 110—120 stopni zimna, w przeciwnym jednak razie umierały przy znacznie niższej temperaturze. Infuzorye przestawały dawać znaki życia dopiero wtedy, kiedy je w ciągu 24 godzin trzymano w temperaturze 80—90 stopni zimna.

Mikroby, bacyle, mikrokoki wszelkiego gatunku żyły bez uszczerbku w najniższych temperaturach bardzo długo, bo w ciągu kilku dni a nawet tygodni. Co więcej, niektóre z nich po przebyciu dłuższem w atmosferze skroplonego powietrza, a więc przy 200 stopniach zimna, zdradzały większą rzeźkość i energię. Zdaje się, że pasożyty te są zarówno wytrzymałe tak na bardzo nizkie temperatury jak i na bardzo wysokie i w najgorszym wypadku

ulegają tylko stanowi letargicznemu. Godnem uwagi jest, że nieorganizowane trucizny, powodujące ferment, jak vaccyny i ptomainy nie znoszą nizkiej temperatury, która pozbawia ich limfę zdolności działania. Dotychczas panowało pod tym względem pomiędzy uczonymi zdanie przeciwne. Teraz jednak, po dokonaniu badań powyższych, łatwo przeprowadzić linię demarkacyjną pomiędzy obiema kategoryami zarazków: mikrobami i vaccynami.

Dajmy teraz głos samemu Pictetowi.

„Widzieliśmy — powiada on — że przy nizkich temperaturach, graniczących z 100 stop., wszystkie zjawiska chemiczne nie mają więcej miejsca. Pomimo to, jak mieliśmy się sposobność przekonać, różne zarodki nie ulegają zniszczeniu nawet przy 200 stopniach i żyją potem tak dobrze, jak przedtem. Życie przeto musi być siłą w rodzaju siły ciążenia, siłą, która raz powołana do funkcyi, nie ulega zniszczeniu w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Aby się zmysłowo przejawić, potrzebuje tylko obecności ciepła, wilgoci i światła. Wprawdzie nie udało się dotąd sztucznie wytworzyć pożądanego organizmu, badanie jednak zjawisk życiowych przy najniższych temperaturach i wnioski ztąd wyciągnięte pozwalają nam zaliczyć życie do rzędu stałych sił przyrody“.

Doświadczenia, jakie czynił Pictet na sobie samym, są niemniej ciekawe. Okrywszy się ciepłem, gęstem futrem, kazał on umieścić siebie w naczyniu w ten sposób, aby głowa wystawała na zewnątrz. Naczynie przytem było o ile możności szczelnie zamknięte. Przy 50 stopniach jeszcze futro chroniło ciepło wewnętrzne do tego stopnia, że Pictet zimna nie odczuwał. Kiedy temperatura opadła do 70 stopni, eksperymentator uczuł głód, który dostatecznie zaspokoił i dopiero przy 110 stopniach skóra jego zaczęła podlegać wpływowi mrozu. Pictet twierdzi, że po paru doświadczeniach tego rodzaju uleczonym został gruntownie z choroby narządu trawienia, na którą od lat kilku cierpiał.

F. S.

Z estrady i sceny.

„Pan Senator“ komedya w 3 aktach p. Schönthana i Kadelburga.

Od czasów Kotzebuego mało tylko rozplenił się w Niemczech ów rodzaj pisarzy, który z karykatury typów i sytuacyi buduje rusztowanie sceniczne, — z bezsensu system tworzenia. W szczupłej drużynie, naśladującej w Niemczech nadsekwańskie wzory farsy i krotochwili, uderza nadto fakt jeden, świadczący poniekąd o bezsile autorów, — mówię tu o *literackich spółkach* figurujących niemal na każdym afiszu niemieckiej „Posse“ lub „Schwank.“ Schönthan i Kadelburg, Blumenthal i Kadelburg, Laufs i Jacoby — to głośne małżeństwa wydające na świat najniższy gatunek komedyi, a ta *wspólność* roboty, ta potrzeba złączenia dwóch wysiłków dla ułożenia farsy udatnej nie przemawia bynajmniej na korzyść wszechstronności talentu i bogactwa wyobraźni autorów — jednostek.

Ostatnia z wymienionych spółek tworzy przynajmniej małżeństwo dobrane i wydaje na świat dzieci zdrowe, wrzawą i śmiechem napełniające scenę i teatr — pierwsza natomiast, która najmłodszemu z potomstwa swojego dała na imię „Senator“, z sił połączonych zaledwie twórczy złożyła ułamek.

Sobotnia premiera teatru naszego nie sięga do wyżyn owego komizmu, którym bądź co bądź tryskają taki „Ungläubiger Thomas“, „Toller Einfall“ lub „Pension Schöller“, a już całe niebo dzieli ją od francuzkiej „Madame Bonivard“, — w oryginale niemieckim jednak posiada pewien koloryt lokalny, pewną satyrę hamburskiego stempla i ulubione dźwięki Hamburczyków, które dla szerokiego tłumu wołającego tak dziś jak niegdyś „Panem et Circenses“ stanowić zawsze będą magnetyczną przynętę. W polskiem przebraniu i wobec polskiej publiczności giną te uboczne powaby utworu a tem samem płowieje komizm postaci, bledną kolory oryginalnego dowcipu i *traditore* zmienia się w „*tradatore*“, jak mówi włoskie przysłowie.

Farsa, — najniższy rodzaj komedyi, najłatwiejszy rodzaj tworzenia! — takby się zdawało. Dobry pomysł i nieco „matematyki scenicznej“ ma według opinii wielu krytyków stanowić o powodzeniu utworu. A jednak ani pomysł ani matematyka przed anemją nie ocali farsy jeżeli architektom sztuki zbraknie obfitej fantazyi komicznej. Bez tego ożywczego źródła autor i w suterynach artyzmu nie zdobędzie palmy i wawrzynu. Bez tej twórczej potęgi powstanie może gdzieniegdzie zręczna mozaika z wykrawków cudzej własności, powstanie ta i owa sytuacya strzelająca salwami śmiechu, powstanie wreszcie jakiś typ łaskoczący widzów, — ale nie powstanie nigdy całość, któraby tak uśpiła normalną logikę publiczności, że porwana w karnawałowy wir poliszynelów, sowizdrzałów i masek zapomni analizować prawdopodobieństwo premis, typów i kombinacyi i z jakiegoś oderwanego od prawideł zdrowego sensu stanowiska rozgrzeszy autora z najdziwaczniejszych karykatur i naryzykowniejszej plątaniny stosunków. Bez bogatej fantazyi nie ma bogactwa akcyi scenicznej a farsa więcej niż którykolwiek gatunek dramatycznej twórczości wymaga różnorodnego, w sytuacyjnem humorze skąpanego życia. Ani lśniący dowcip ani zręczna gra słów i półsłówek nie zwycięży publiczności na przestrzeni długiego wieczoru, bo humor farsy jest humorem sytuacyi.

Spółka literacka, która w warsztacie swoim zbudowała „Pana Senatora“, posiada niewątpliwie znajomość sceny i znajomość tych prawideł matematycznych, na których rusztowanie sztuki poprawnej opierać się musi. Linje krzyżują się zgrabnie, fasada nie grzeszy balastem zbytecznej ornamentyki, lecz ubóstwo inwencyi wyziera z wiązań i rozwoju trzyaktowego gmachu i w trzecim mianowicie akcie przedstawia wrażenie nieznośnego ambarasu, szukającego napróżno nowych motywów dla architektury swojej. Pomysł "Pana Senatora“ nie odznacza się oryginalną świeżością, bo panowie teściowie i panie teściowe, wykradzione z roczników „Fliegende Blätter“, sprożyły się już niejednokrotnie na scenach starego i nowego świata. A jednak ten "Pan Senator“, tyranizujący młodego zięcia z senatorskiem „sic volo“ na wydętych wargach, wyklinający melodyjne walce i skoczne mazurki z senatorskiego fortepianu, grający wista z senatorską powagą i zapisujący w senatorskim notesie tematy kazań moralnych dla pokornego męża swej córki, — ta senatorówna olśniona blaskami senatorskiego papy. — ta pani senatorowa, żywy fonograf senatorskiego męża, — ten przyjaciel Gering niosący iskrę buntu w przybytek senatorskiej powagi i ten zięć senatorski z wesołą przeszłością studencką i nieśmiałemi porywami samodzielności. pozostaną zawsze materyałem, z którego ręka wirtuoza wyciosa arcydzieła śmiechu. Chwilami miałem istotne złudzenie, że panowie Schönthan i Kadelburg z starego materyału złożą mistrzowskie wiązanie, bo mianowicie akt II posiada kilka scen porywających wesołością swoją, lecz koniec sztuki zdradził niemiłosiernie całe ubóstwo fantazyi niemieckich autorów i pozostawił wrażenie grzęźnięcia w piasku głębokim wśród wysilonych ruchów i dychawicznego oddechu płuc pozbawionych powietrza. Autorzy zrozumieli dobrze, że sztuce ich zbraknie eksplodującego materyału w rozwiązaniu zawikłań, że grozi im niebezpieczeństwo wstąpienia w ślady niezręcznego anekdociarza opowiadającego puentę, którą słuchacze dawno już odgadli, i dla tego według starej recepty wprowadzili do aktu trzeciego nowe postacie. „Der Mann des dritten Aktes“, — skuteczny to środek na suchoty sztuki, ale czemże jest ta rezonująca Julja i ten blady, bezkrwisty syn senatorski, ukazujący się publiczności pod koniec wieczoru, w porównaniu do takiego agenta Schimla w „Niewiernym Tomaszu“ lub komicznego głuptaska w „Madame Bonivard“. Tam w trzecim akcie wraz z nowymi ludźmi pękają nowe petardy śmiechu, akcya się ożywia, ukryte motywy eksplodują, tu ani Julja ani syn senatorski nie wnoszą nowego życia i nowego śmiechu. A najcharakterystyczniejszem znamieniem dobrej farsy jest humor aktu trzeciego. Jeżeli autorzy nie znajdą komicznych motywów w rozwiązaniu sztuki, rozpościera się nuda i niesmak w teatrze. Zdrowy rozsądek upomina się o prawa swoje i wyzwolony z uroków humoru pyta zdziwiony, czemu n. p. ten groźny senator hamburski, ten arystokrata finansowy z drewnianem sercem i drewnianem obliczem rozczula się ni ztąd ni z owąd i kapituluje. Nie pytałby może i nie analizował, gdyby go humor ogłuszył, ale gdy humor ginie, budzi się logika i syczy nad zlepkiem tych fantastycznych zmian i karykatur.

W takich warunkach niełatwem było zadanie artystów, bo nie osłonięci tarczą komicznych sytuacyi prezentować musieli nagie nieprawdopodobieństwo typów. Nie winię zatem pana Skirmunta, że jego Senator był dla publiczności znakiem zapytania, ale zdaje mi się, że w granitowej powadze jego było za mało — farsy wesołej. Gra utalentowanego artysty przypominała zanadto styl poważnej komedyi, w której celuje pan Skirmunt, i dla tego nie radziłbym reżyseryi na przyszłość żądać płaskiego komizmu od bohatera dramatu i przedstawiciela wyższej charakterystyki. I panna *Vernon* w roli senatorskiej córki zdobyła się zaledwie na kilka szczęśliwszych momentów. Gra jej w Barkaroli, pełna finezyi i wytwornego wdzięku, wzbudziła wielkie nadzieje, to też tem dotkliwszy był zawód wyniesiony z sobotniej premiery. Nie przeczę, że postać Agaty do najwdzięczniejszych zaiste nie należy, ale interpretacya p. Vernon była dziwnie sucha; majestatyczna flegma i napuszona wyniosłość nowej artystki, miały jakieś tony. które śmiechu szczerego nie budzą, lecz usta wykrzywiają grymasem. Część druga roli pogodziła mnie nieco z senatorską córką ale i tu myślałem z żalem o pięknych wróżbach Barkaroli. Miałożby to być jedno z owych złudzeń, o których w przeszłej recenzyi mówiłem?

Z całą przyjemnością natomiast zapisuję tu, że nie ziściły się obawy moje wypowiedziane z okazyi pierwszego debiutu pana *Wostrowskiego* w Mazepie. Dziś już z wielkiem prawdopodobieństwem stwierdzić należy fakt, że scena nasza zyskała w młodym artyście siłę rutynowaną i sumienną w charakterze lekkich amantów. Zwracam tylko uwagę panu Wostrowskiemu na pewną przesadę w galopowem tempie mówienia i nadużywanie tonów dyszkantowych, — po za tem jednak podnoszę z szczerem uznaniem poprawność dykcyi, temperament i uderzającą swobodę sceniczną. Nowa „naiwna“ sceny poznańskiej p. *Ogińska* wywarła również korzystne wrażenie, lubo obawiam się, że grzech jednostajności, grasujący epidemicznie w szeregach „naiwnych“, zaciąży wkrótce na młodszej córce „Pana Senatora.“ Z dawnych artystów biorących udział w sobotniej premierze zasługuje na wyróżnienie elegancya i szczerość pani *Jakubowskiej* oraz charakterystyczna owiana prawdziwym humorem interpretacya pani *Królikowskiej.* Pan *Łaski* tylko w wdzięcznej roli dr. Geringa nie wyszukał typu. Kusiciel ten, gracz pierwszej wody, zręczny pogromca senatorskich uroszczeń nie królował nad otoczeniem swojem. Pan Łaski uderzał szczęśliwie w ton lekkiej ironii, lecz tak dyskretnie markował istnienie swoje, że skurczył się i rozpływał. A przecież rosnąć powinien ten Gering, ten *spiritus movens* rewolucyi domowej w senatorskiej klatce.

W. R.

NA WYŁOMIE.

(Przestrach. — Kto otruł ks. Wodę? — Nowy reformator. — Anarchia i socyalizm w pojęciu „Kuryera Pozn.“ — Piekąca rana.)

Co to się stało? Jakiś strach i drżenie idzie po ludziach starego obozu i bieli twarze poważne. Pytam, — milczenie. Tylko ten i ów kładzie palec na ustach, wylękłem okiem zatoczy w około i cichym szeptem rzuca mi słowo: Trucizna! Coś niby czarna chmura zawisła nad miastem i prowincyą naszą. Chwila jeszcze a grom uderzy i śmierć-dusiciel wyciągnie ramiona.

Co to jest? Na rany Boskie gorszą od śmierci jest ta niepewność okrutna. Mówcie więc, a potem niechaj się ziemia roztworzy. — Wreszcie pojąłem. W „Kraju“ petersburskim zabiera głos p. Wojnicz z Poznania i straszne słowo — gorsze niż bomba Ravachola — rzuca między ludek cichy poznańskich filistrów. Słynny pogromca patryotów naszych trojga imion Wojnicz, Domarat i Gwiazdka w klamerkach, taką nowinę obwieszcza Europie zdumionej:

Oto wyrosła na ziemi naszej jakaś „Maffia“ nowa, jakieś olbrzymie sprzysiężenie w rodzaju fenian irlandzkich, mające na usługi swoje nóż i truciznę, a imię jego: „Stronnictwo ludowe“. — Niechaj nikt się nie śmieje, niechaj nikt nie posądza mnie, że naśladując jadowity język poznańskich plotkarzy i plotkarek, kuję sobie bajeczkę gwoli rozweselenia czytelników i dokuczenia najserdeczniejszym. Niewiernym polecam Nr. 36 „Kraju“ petersburskiego, gdzie mimochodem, tak od niechcenia rzuca korespondent poznański twierdzenie, że ks. Wodę z Miasteczka otruło stronnictwo ludowe.

Dzieje tej tragicznej śmierci znane są czytelnikom naszym. Kapłan wstępuje na ambonę i słowo boże głosi parafianom swoim. Nagle urywa, słania się i z okrzykiem: Jestem otruty! pada na ręce przestraszonych włościan. Nie pomogła sztuka lekarska, — po krótkich męczarniach zmarł proboszcz z Miasteczka, — w ampułkach znaleziono strychninę. Kto winien? Sąd i policya szukają zbrodniarza, a gdy pewnych poszlaków odkryć nie zdołano, latają sobie po kraju baśnie tajemnicze i sieć legend fantastycznych oplata pamięć nieboszczyka. Jedni opowiadają jakieś dziwy o kradzieży kościelnych pieniędzy, którą wytropił ks. Woda i dla tego — paść musiał ofiarą. Umarli nie mówią, więc mu strychniny nasypał złoczyńca. Inni — snać nie pojmując, by tragedya bez miłości obejść się miała, — nucą balady o zemście zdradzonej kochanki; — są wreszcie tacy, którzy gruchają coś arcyskomplikowanego o podwójnym testamencie, najazdach rodziny, kodycylach i tym podobnych strasznościach à la „Żyd wieczny tułacz“, „Tajemnice Paryża“ lub „Ponury dom w Warszawie“. Wreszcie przemawia pan Wojnicz: Publiczność, żandarmi i prokurator na fałszywym znajdują się tropie. Trucicielem jest stronnictwo ludowe. C u i p r o d e s t? — pytam. A ks. Woda był wrogiem „Orędownika“, „Postępu“ i całej zgrai burzycieli.

Zimno się robi i „coś mi tu jęczy pogrzebowym dzwonem“, jak mówi Słowacki. Bo że partya „Orędownika“ i „Postępu“ składa się z „warchołów, wrogów Kościoła, socyalistów, bosaków“ i t. d., o tem nas od lat kilku informuje „Kuryer Poznański“ i Wojnicz, jego adjutant, ale że ten zuchwały dr. Szymański i Spółka zorganizował bandę trucicieli i sprowadziwszy do redakcyjnej jaskini kilka pudów strychniny, niesie śmierć w ciche plebanje i świątynie Pańskie, tego zaiste nie wykrztusił jeszcze żaden z paszkwilantów „ładu i porządku“. A więc stronnictwo mordu powstało na poznańskim gruncie i dzięki policyjnym zdolnościom pana Wojnicza prokurator niemiecki honor swój ocali. Nie wątpimy ani jednej chwili, że rząd pruski stan oblężenia ogłosi w Poznaniu, że ziemia zczerwieni się krwią spływającą z szafotów i „będą teraz kiry i trumny w kościele“. Straszne czasy! Rozumiem dobrze przestrach rozmaitych Wojniczów, lecz ufam i wierzę, że za te drobne zasługi, które pismo nasze około stronnictwa ludowego położyło, panowie truciciele raczą oszczędzać żołądek redakcyi, który niewyćwiczony w kunszcie Mitridata, strychniny nawet w małych dawkach nie znosi.

Z wieścią o fenianach poznańskich łączy się druga podobnego gatunku nowina. Oto „Kuryer Poznański“ zwiastuje lojalnym czytelnikom swoim, że w oficynie drukarskiej p. Krzyżankiewicza ukazał się „Katechizm socyalistyczny, ba! nawet anarchistyczny“. Władza policyjna aresztem książkę okłada, lecz już na drugi dzień przeprasza z wstydu rumieńcem, że poszła na lep Kuryerowy. W mig dwa procesy się rodzą, — jeden o potwarz, drugi o wykradzenie broszury z drukarni. Zdjęty ciekawością, zapragnąłem poznać ten literacki pierwiosnek socyalizmu i anarchii na poznańskim gruncie. Tytuł „Zapiski“, autorem Mieczysław Barwicki. Dla informacyi czytelników naszych dodaję, że Barwicki jest to sobie malarz-artysta, tułający się od lat wielu po świecie, a obecnie mieszkający stale w Petersburgu. Nie po raz pierwszy zamienia on pędzel na pióro. Czytałem niegdyś jego „Kawałki“ i „Bajki“, a obecnie dowiaduję się, że z łaski „Kuryera“ obłożono mu również aresztem rękopis poematu „Słowianin“. Jakim ołtarzom politycznym służył Barwicki w długiej tułaczce życiowej, tego powiedzieć nie umiem, ale jeżeli „Zapiski“ stanowią jego „credo“ społeczne, to zdaje mi się, że stanął przed nami jeden z owych nieszkodliwych fantastów-nauczycieli, którzy budują w barwnej wyobraźni jakiś nowy porządek świata, gdzie zdaniem ich słońca będzie dużo i szczęścia dużo, a nędza ludzka i łzy przepadną na zawsze. W 612 paragrafach wyśpiewał on państwo przyszłości, — na 93 stronnicach wypowiedział poglądy swoje na język, narodowość, religię, małżeństwo, sztuki piękne, dziennikarstwo, moralność, gościnność i tysiące innych kwestyi życia zbiorowego, a cały ten zlepek prawideł reformacyjnych wywiera wrażenie dziwnej mięszaniny, — coś w rodzaju zbiorowiska liści, pozrywanych z drzew różnorodnego gatunku. Program pana Barwickiego, nie owiany żadną szerszą i jednolitą ideą społeczno-filozoficzną, posiada i tchnienie liberalnych teoryi i łomot pałki policyjnej, nieco Tołstoja i nieco Drakona, nieco rozsądku i centnary nonsensów, jednem słowem wszystko tam jest, a najwięcej głupstwa. Charakterystycznym mianowicie jest wymiar kar, zalecony przez pana Barwickiego prawodawcom przyszłości. Strach, co to będzie, — pół świata zajmą więzienia i szubienice. Ot! mała próbka: § 538 brzmi: „Obrońcy sądowi po udowodnieniu im tego, że skrycie brali zapłatę za niby obronę lub za pouczenie strony oskarżonych, o jakieś krzywdzenie kogoś materyalne lub moralne, lub o sprytne spychanie kogoś do ruiny, mogą być karani od 20—40 lat więzienia, a w gorszych razach ś m i e r c i ą p r z e z z a k o p a n i e ż y w c e m. (!) (Boże, co za styl!) Ten jeden paragraf wystarczy chyba dla zakwestyonowania zdrowego rozsądku autora i nie zajmowałbym zaiste czytelników naszych chorobliwemi fantasmagoryami jakiegoś umysłowego „Pożal się Boże“, gdyby okrzyk „Kuryera Pzznańskiego“: Socyalizm i anarchia! nie rzucał jaskrawego światła na pojęcia kursujące w Poznaniu o najżywotniejszych kwestyach społecznych. Czegoż to ludzie u nas nie nazywają socyalizmem i anarchią? Ciekawy jestem, coby za minę zrobili taki: Marx, Bebel, Réclus, Bakunin i Krapotkin, gdyby im zaprezentowano broszurę naszego reformatora z jej ścisłem zabezpieczeniem własności prywatnej, z jej biurokracyą, wojskiem, więzieniami, ograniczeniem indywidualności ludzkiej, z jej purytanizmem i jej bezdenną naiwnością, a równocześnie krzykniętem nad uchem „Kuryerowe“ słowo: Patrzcie! to ewangelia wasza! To brat wasz rodzony!

Dla „Zapisków“ biednego fantasty mieliby niezawodnie tylko uśmiech politowania, ale dla prasy polskiej, roszczącej sobie pretensye do sterowania opinią publiczną i rozszerzania umysłowych widnokręgów narodu, mieliby pogardę, — nic, jak pogardę.

Podobno ks. Stychel organizuje w Poznaniu wyprawę na dortmundzkie kursa socyologii katolickiej. Co do nas to radzimy szczerze użyć wszelkich wpływów, aby mianowicie redaktorów „Kuryera Pozn.“ wysłać w te strony dalekie dla zatkania próżni umysłowej choć odrobiną znajomości prądów społecznych i kierunków ekonomicznych. Bo mnie wstyd Europy, wstyd kolegów — dziennikarzy innych zaborów, gdy taki „Kuryer“ et tutti frutti mówić zaczyna o socyaliźmie i anarchii. Wybaczam ostatecznie dziennikowi politycznemu, gdy jego recenzent teatralny zyskuje sobie w zagranicznej prasie miano „fryzyera i fotografa“, wybaczam prasie codziennej, gdy łamy swoje otwiera gościnnie literackim niedorostkom, ale jeżeli pismo wypisujące na sztandarach swoich walkę z socyalizmem i anarchią, pismo udające „polityczną powagę“ i służące za pokarm polityczny warstwom inteligentnym, zdradza na każdym kroku nieznajomość najprostszych elementów socyologii, prądów, kierunków i dążeń pulsujących w arteryach społeczeństw, to dla takiego ubóstwa ducha nie mam rozgrzeszenia. W dyskusyach nad obniżeniem poziomu umysłowego w Księstwie spotykamy stale twierdzenie, że ciężka walka o byt i śmiertelne zapasy z germańskim polipem wyjaławiają mózgi poznańskie, ale nie będę fałszywym analitykiem, gdy do przyczyn naszego skarłowacenia zaliczę zgubne wpływy bezmózgowej prasy. Jakże ten naród ma zakwitnąć wiedzą, gdy dostarczyciele jego strawy umysłowej zdradzają na każdym kroku cechy niemowlęctwa! Temat ten poruszam już po raz drugi w krótkim odstępie czasu, ale nasze próżnie redaktorskie stanowią istotnie tak piekącą ranę społeczeństwa, że drażni ona bezustannie i codziennie niemal syczy swoje „Jestem“. *Sulla.*

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** W dniu 26 września odbyły się wybory do sejmu galicyjskiego z kuryi włościańskiej. Stronnictwo ludowe zyskało 7 mandatów (dawniej 6, obecnie 13). Upadli ks. Adam Sapieha (jun.) prof. Zoll, Popowski, hr. Męciński, br. Stadnicki, Rey i Paszkowski — W Poznaniu odbył się wiec ewangielickiej misyi wewnętrznej. Wielkie wrażenie wywarło przemówienie Stöckera. — Projekt ograniczenia handlu domokrążnego nie stanie na porządku obrad w parlamencie niemieckim. — Utrzymuje się uporczywie pogłoska, że car Mikołaj odwiedzi cesarza Wilhelma w Rominten. — Powstanie w Macedonii chyli się ku końcowi. Sułtan kazał rozpuścić powołanych do broni rezerwistów.

* **Teatr i muzyka.** Z nowo zaangażowanych artystów sceny poznańskiej zaprezentował się p. Nowacki w „Grubych rybach“ Bałuckiego jako aktor rutynowany, ale zepsuty wpływem małomiejskich teatrów, lubujący się w szarży i karykaturze. — Sudermann wykończył dla teatru w Burgu nową sztukę p. t. „Das Glück im Winkel“ (Szczęście w zakątku). — Björnstjerne Biornson wystawi niebawem drugą część dramatu swojego p. t. „Nad możność“. — Między premierami teatru poznańskiego figuruje „Ciepła wdówka“ Bałuckiego, „Łotrzyca“ Zalewskiego i „Towarzysz pancerny“ Wołowskiego“. — Teatr lwowski zamierza wystawić nową sztukę H. Piątkowskiego p. t. „Parweniusz“. — Artystka teatru poznańskiego, pani Łaska, debiutowała na scenie warszawskiego teatru „Rozmaitości“ w „Nitouche“ i „Biednej dziewczynie“. Krytyka wyraża się pochlebnie o temperamencie i humorze wodewilistki naszej. — natomiast wypowiada ujemną opinię o śpiewie pani Łaskiej. — Pani Honorata Leszczyńska wystąpi na warszawskiej scenie gościnnie w sztuce z angielskiego „Niobe“. — W Poznaniu krążą uporczywe pogłoski, że p. Dobrowolski zamierza złożyć urząd dyrektora teatru naszego — W listopadzie lub grudniu teatr poznański obchodzić będzie srebrny jubileusz istnienia swojego. — W sobotę wystawi teatr Poznański pięcioaktową sztukę Ostrowskiego p. t. „Intratna posada“. Utwór ten zyskał sobie w Krakowie uznanie krytyki i publiczności.

Zmarli:

* **Dr. Bardeleben**, profesor medycyny przy uniwersytecie berlińskim, zm. 24 września w Berlinie.

* **Klara Andersen**, najpłodniejsza autorka dramatyczna Danii, zm. w Kopenhadze.

Odpowiedzi Redakcyi.

M. Z historyą sztuki w pojęciu nazwisk i faktów zapoznać się łatwo z książek, ale poznać sztukę samą, zrozumieć jej piękno, wyrobić w sobie krytycyzm artystyczny, odczuwać ducha poszczególnych okresów i prądów, wreszcie przyswoić sobie znajomość techniki, — tego wszystkiego tylko obcowanie z sztuką samą nauczyć może Szanowną Panią. Kolekcye fotografii, o których Pani wspominasz, są niewątpliwie dobrym środkiem pomocniczym, ale wątpimy, czy wystarczą do osiągnięcia zamierzonych celów. Jako podręczniki historyi sztuki polecamy na razie: 1) L ü b k e a) Geschichte der italienischen Malerei; b) Allgemeine Kunstgeschichte. 2) F r o m e n t i n. Les maîtres d'autrefois.

Jednemu z urażonych. Ze względu na bezimienność listu życzeniu Szan. Pana zadość uczynić nie możemy. Nadmieniamy zresztą, że krytyka nasza oparta jest na dokładnych informacyach i obserwacyach, lubo przyznajemy, że część winy spadać może na żywioły obce.

A. Z. Lwów. Nadesłanych przekładów nie zamieścimy dla braku warunków literackich.

Uczciwy. Na takie gadziny nie ma lekarstwa. „Der schrecklichste der Schrecken ist der Kampf mit Ungeziefer“.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 40. Poznań, Niedziela 6. października 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Ul. św. Marcina 22, II.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Wybory galicyjskie.

Kraków, 30 września.

Wybory sejmowe właściwie się skończyły. Wprawdzie jutro jeszcze wybiera szlachta 44-ch posłów, ale jest to poniekąd nie wybór lecz zatwierdzenie, porozumiano się już bowiem dostatecznie kogo wybrać i trzeba tylko dopełnić formalności. Lista zatwierdzonych przez komitet centralny kandydatów o tyle tylko zmienioną zostanie, iż kilku z nich ustąpi dobrowolnie na rzecz tych wybitniejszych osobistości stronnictwa konserwatywnego, które padły przy wyborach z mniejszych posiadłości. Przedewszystkiem zapewne nie zostaną pominięci p. Józef Męciński, (pisany już dziś stale *hrabią* Józefem Męcińskim), książę Adam Sapieha, który jednak oświadcza, iż nie kandyduje i hr. Jan Stadnicki, ulubieniec stronnictwa konserwatywnego, a formalnie znienawidzony przez wszystkie inne stronnictwa w kraju istniejące. Znajdzie się zapewne miejsce i dla p. Chrzanowskiego, który wczoraj przepadł w Krakowie, a który jest, że tak powiem, posłem fachowym i tradycyjnym. W każdym razie tych 44-ch posłów będą to tylko sami konserwatyści, z wyjątkiem chyba ks. Adama Sapiehy, który lubi od czasu do czasu bawić się w liberała, a nawet „czerwonego“, co mu nie przeszkadza jednocześnie ani stanąć na czele szlachty żegnającej hr. Badeniego, niby to jego przeciwnika politycznego, ani zabawić się w ultralojalność, przemawiając za wzmocnieniem w szkołach nauki języka niemieckiego, bo to jest łaskawie u „dworu“ widzianem i pozwala godnie nosić tytuł ekscelencyi.

Jeżeli wybory z kuryi większych posiadłości nie przedstawiają nic interesującego, to wynik wyborów dotychczasowych z miast, a zwłaszcza z mniejszych posiadłości daje obszerny materyał do uwag i wniosków. Rozpocznę od tych ostatnich, bo tylko w nich walka szła na ostre, bo tylko one zajmowały i to przez czas długi opinię publiczną.

Stanowczej przemianie uległa grupa posłów rusińskich, czy ruskich, jak kto woli. W poprzednim sejmie posiadali Rusini 16 mandatów, w nowym posiadać będą 14. To liczebne zmniejszenie nic jednak nie stanowi — barwa gra tutaj główną rolę. Do walki ze sobą wystąpiły cztery stronnictwa rusińskie: moskalofilskie, ugodowe (partya Barwińskiego), narodowców (Romańczuka), i ludowo-radykalne. Moskalofile przepadli skandalicznie, bo we wszystkich okręgach wyborczych pozostali w rażącej mniejszości; na kandydatów ich padło zaledwie 352 głosy. Radykalni popisali się już lepiej, bo mieli głosów 557 i przeprowadzili jednego posła w osobie p. Nowakowskiego, który pobił w Przemyskiem ks. Adama Sapiehę. Olbrzymią klęskę poniosło także stronnictwo Romańczuka, zwące się wprawdzie stronnictwem „narodowem“ ale dość zbliżone do stronnictwa moskalofilskiego i mające z niem część wspólnych kandydatów. Poległ sam p. Romańczuk, polegli i wszyscy jego przyjaciele polityczni, z wyjątkiem p. Okuniewskiego. Za to zwycięztwo na wielką skalę odniosła partya „ugodowców“ — na 14 mandatów ruskich zdobyła na pewno 10, a może i 12, gdyż prawdopodobnie dwaj wybrani włościanie: Winniczuk i Ostapczuk, przyłączą się do partyi Barwińskiego.

Wynik ten oznacza naprzód ogromną zmianę w zapatrywaniach Rusinów, a mianowicie dążenie z ich strony do porozumienia się i zgody z Polakami. Ale nie łudźmy się, wynik ten bowiem zawdzięczamy jedynie sprytnej, przez rząd obmyślonej i przeprowadzonej taktyce wyborczej. Dawniej we wszystkich prawie (z małym wyjątkiem) okręgach wyborczych wschodniej Galicyi ubiegali się o mandat tak i Rusini jak i Polacy. Jeżeli zatem w okręgu X. X. kandydował Polak i Rusin, to Rusini pomimo różnicy stronnictw oddawali swe głosy Rusinowi. Wychodzili więc z urny Rusini wszelkiej barwy. Obecnie ze strony polskiej i rządowej postanowiono pozostawić pewną ilość okręgów wyłącznie Rusinom, walczą więc oni sami pomiędzy sobą. W tej walce rząd popiera ugodowców, i wszystkie też głosy, jakie w tych okręgach posiadają Polacy, padły na członków stronnictwa Barwińskiego. Jeżeli też statystyka wyborcza powiada, iż stronnictwo Romańczuka otrzymało głosów 792, a Barwińskiego 1351, to nie znaczy bynajmniej, aby ten stosunek głosów oznaczał wybitną przewagę ugodowców. Naprzód presya rządowa odebrała „narodowcom“ przynajmniej pareset głosów, które odliczywszy od głosów stronnictwa Barwińskiego, wraz z paruset głosami polskiemi, zmniejszymy znacznie moralną doniosłość zwycięztwa ugodowców. Co najwyżej możemy powiedzieć, iż partya Romańczuka z partyą Barwińskiego znajdują się w równej sile. Jeżeli jednak zauważymy, iż do partyi „narodowców“ zbliżeni są moskalofile i radykali, to tryumfujący ugodowcy pozostaną w znacznej mniejszości. Co więcej, patrzący spokojnie i trzeźwo na stosunki ruskie w Galicyi, nie mogą mieć wielkiej wiary w dobrą wolę i niezłomność przekonań ugodowców. Czyż to tak dawno, kiedy p. Romańczuk zawierał ugodę z rządem i mówił o porozumieniu się z Polakami, czyż to tak dawno jak mowy jego w sejmie wypowiadane, zyskiwały oklaski ze strony wszystkich posłów polskich? A gdzie dziś zaszedł p. Romańczuk? Cofnijmy się jeszcze nieco dalej i przypomnijmy sobie księdza Kaczałę, którego świetne mowy na temat dwóch bratnich narodowości do tego stopnia nas entuzyazmowały, że zyskał mandat w czysto polskim okręgu tarnowskim. Nie trzeba było jednak długiego czasu, aby polonofil Kaczała stał się najzacieklejszym moskalofilem. Nie znam p. Barwińskiego, a więc sądzić o nim nie mogę, chętnie też przypuszczam, że jest człowiekiem stałych przekonań, ale co do jego przyjaciół politycznych, na mocy przykrych doświadczeń, obawiano się, czy nie pójdą śladem Romańczuków albo co gorzej Kaczałów. Rusini „rządowi“ wzbudzają zawsze podejrzenie, iż dla chwilowej karyery, lub dla innych interesów, umizgają się do władzy, a ponieważ władza żąda przedewszystkiem zgody między narodowościami, przeto o tej zgodzie przebąkują. Trzebaby zajrzeć w ich serca, aby wiedzieć ile szczerości mieści się w ich oświadczeniach, a tej sztuki zajrzenia w serce nie posiada nietylko wasz korespondent, ale nawet sam p. namiestnik, wszystkowiedzący i wszechwładny hr. Kazimierz Badeni.

Za to podwładni jego: starostowie, komisarze i żandarmi posiadają sztukę przemawiania do „serc“ ludu przy wyborach, o czem niezbyt szeroko, ale dość wyraźnie pisałem w pierwszym moim artykule o wyborach galicyjskich. Sztuka ta, w połączeniu z „miłosierdziem“, jakiego dowody dawała większość kandydatów, udzielając hojnie jałmużny „biednym chłopkom“, a wymagając tylko od nich jednorazowego wypowiedzenia ich nazwisk przed komisyą wyborczą, spowodowała, iż w zachodniej Galicyi na 4696 wyborców, za kandydatami komitetu centralnego oświadczyło się 2058 i że wskutek tego tylko 7 kandydatów stronnictw ludowych weszło do sejmu, nie licząc 3 chłopów, których poparł komitet centralny. Ale i tu ktoby chciał opierać swoje wnioski na samych tylko cyfrach, musiałby pobłądzić. Czytelnicy „Przeglądu“ wiedzą już jak „bezstronnie“ władze rządowe postępują przy prawyborach, a wskutek tego, jak dalece często rozchodzi się opinia ludu od wybranych niby przez niego „dobrowolnie“ wyborców. Gdyby zostawić ludowi wolną wolę, to bez przesady przynajmniej do 1/3 wyborców całkiemby się nie przyznał i zamieniłby ich na innych. Weźmy dalej na uwagę, że z ludem głosują zarazem wyborcy z małych miasteczek,

których wprawdzie jest stosunkowo nie wiele, ale którzy nie głosują na chłopa tak ze względu na swoje wysokie hierarchiczne stanowisko w społeczeństwie, jako też dla tego, iż łatwiej do ich „serc“ przemówić. I to jeszcze nie wszystko, bo należy nie zapomnieć, iż przy samych wyborach wysila się energia panów starostów. Kto ciekawy niech sobie przeczyta w pismach galicyjskich opisy „wolnych“ wyborów w Gorlicach, gdzie kandydował i gdzie nibyto przeszedł p. Adam Skrzyński, świeżo upieczony hrabia galicyjski. Pan Gubatta, starosta gorlicki, był tak gorliwy, iż więzienia miejscowe nie wystarczyły na pomieszczenie aresztowanych wyborców, a niektórzy z chłopów składali na ręce komisyi po kilkadziesiąt reńskich otrzymanych w darze przez litościwego p. hrabiego. W Jaśle miejscowy p. starosta oddał prokuratoryi sprawę przeciw kandydatowi włościańskiemu, który miał popełnić oszustwo; pokazało się przed sądem, iż oskarżony był niewinny, a wskutek tego sędzia wydając wyrok go uwalniający nie mógł w motywach powstrzymać się przed napiętnowaniem niesumiennych donosów. W Wieliczce unieważniono 27 głosów, danych na kandydata Ślósarka, a nie unieważniono ani jednego z danych na p. Czecza. Takich unieważnień, polegających na zbyt ścisłem trzymaniu się prawa (ale tylko względem kandydatur chłopskich), można liczyć na całe setki. W Krakowie w dzień wyborów policya odbyła rewizyę u p. Danielaka, dziennikarza, a następnie spisywała z nim protokół do godziny wpół do 11-tej, poczem powiedziano p. Danielakowi, że może iść do domu, szło bowiem tylko o to, aby nie przemawiał do chłopów przybyłych na wybory. W tymże samym Krakowie wezwano w dzień wyborów na godzinę 9-tą do sądu, kandydata chłopskiego Franciszka Wójcika, a gdy się nie pokazał, szukali go żandarmi, ale Wójcik się ukrył i dopiero przed 12-tą zjawił się w sądzie, już jako poseł, „wybraniec narodu“.

Takiemi kwiatkami jak przytoczone mógłbym zapełnić cały numer „Przeglądu“, ale i przywiedzione są chyba dostateczne dla okazania, iż ze samych cyfr tylko nie można sądzić o usposobieniu wyborców ludowych. Owszem za cud można uważać, iż pomimo demoralizującego przekupstwa i presyi rządowej, zdołały stronnictwa ludowe przeprowadzić swoich 7-miu kandydatów, nie licząc owych 3-ch chłopów, na których zgodziły się sfery wyższe i rządzące. Znamiennem jest, iż w walce z kandydatami ludowymi padli sami prawie wybitni posłowie, jak p. Józef Męciński, prezes wyborczego komitetu centralnego, hr. Jan Stadnicki, profesor Zoll, dr. Franciszek Paszkowski, hr. Mieczysław Rej, p. Józef Popowski. Dodajmy do tego, iż niektórzy chłopi przeszli olbrzymią większością, a kilku upadło tylko paru głosami, a będziemy mieli pojęcie jak się wzmógł ruch ludowy i jakie byłyby rezultaty tego wzmożenia się, gdyby nie presya i nie przekupstwo.

Oświadczam wyraźnie (już nie wiem po raz który) że kandydatury chłopskie nie są mi sympatyczne. Zaznaczam również, że doszły mnie bardzo niepochlebne, a z ust wiarogodnych pochodzące opinie o wartości moralnej kilku z wybranych włościan. Wszystko to jednak nie zmienia faktu, iż ruch ludowy wystąpił bardzo silnie, a gruntem, który mu tak rozrosnąć pozwolił, jest brak zaufania do większości szlachty. Podkreślam *do większości*, gdyż było takich kilka okręgów, w których kandydaci szlacheccy przeszli albo jednogłośnie, albo zaledwie parę głosów padło na innego kandydata, co dowodzi, iż lud miał zaufanie do wybranych, bo nie sposób przypuścić, aby wszyscy wyborcy danego okręgu byli przekupieni, lub wszyscy ulegli presyi rządowej. Znalazł się także taki okręg, w którym ostentacyjnie postawiony i zatwierdzony kandydat chłopski, nie otrzymał ani jednego głosu, co znowu jest dowodem, że są miejscowości, w których chłop nie chce słyszeć nawet o zasadzie wybierania chłopów. Oznacza to, iż lud w znacznej części kieruje się sympatyami, iż posiew opozycyjny wydaje szczególnie tam owoce, gdzie szlachta całkiem ludem się nie zajmuje, albo też, gdzie presya rządowa oburza chłopa i wywiera wprost przeciwny od zamierzonego skutek, jak to miało miejsce w powiecie krakowskim, w którym (jak to powiedziałem w poprzedniej korespondencyi) upadł dr. Franciszek Paszkowski w skutek zajść cholerzyńskich.

Lubo nie jestem zwolennikiem wielu z tych objawów ruchu ludowego, jakie wyszły na jaw podczas ostatnich wyborów, lubo obawą mnie poniekąd przejmuje zaciekłość chłopska, o której liczne dochodzą mnie wieści*), to przecież trudno zamknąć oczy na dodatnie strony tego ruchu. W wielu miejscowościach chłopi zamawiali mszę w dniu wyborów, na uproszenie Boga, aby głosowali „według sumienia“ — w Krakowie po mszy zgromadzili się około pamiątkowej tablicy Kościuszkowskiej i przyrzekli sobie, że nie będzie pomiędzy nimi „zdrajcy“. Niedawne też to czasy, kiedy panowało ogólne przekonanie, iż „bydło chłopskie“ zawsze pójdzie za głosem starosty i wyrażano przytem obawę, iż w razie pogorszenia się położenia naszego w Austryi, chłop będzie wiernem narzędziem rządu — ostatnie wybory tymczasem nader jasno dowodzą, iż „owo bydło“ ma swoją wolę i że pokost czarno-żółty wyciera się coraz bardziej. A czy nie należy się cieszyć z nader licznych faktów, iż chłop ze wstrętem odrzuca przekupstwo? Jeden z doskonałych znawców ludu, powiedział mi przed paru dniami: za 6 lat niesympatyczna dla chłopa kandydatura albo całkiem się nie utrzyma, albo też przeprowadzenie jej będzie wymagało dziesięć razy większych ofiar pieniężnych.

O wyborach z miast nie wiele da się powiedzieć. Scharakteryzowałem już nieco w zeszłej korespondencyi walczące ze sobą stronnictwa. We Lwowie z wielkiej chmury opozycyjnej nawet małego deszczu nie było: wybrano dotychczasowych posłów, pomimo, że tak dużo gadano o ich zdradzie przekonań. Największe cięgi dostała logika przy wyborze tak zwanych „przełomczyków“, t. j. tych członków lewicy, co szli w rozczulającej zgodzie z prawicą. Kiedy wódz ich Szczepanowski przeszedł wszystkiemi głosami w Kołomyi (a więc na liberała tego padły i wszystkie głosy rządowe) to „przełomczyk“ Rutowski poległ sromotnie w Tarnowie. Kolega ich i przyjaciel dr. August Sokołowski, wymyślany naprzód przez liberałów a później przez nich popierany, pozostał w Krakowie . . . bez miejsca, a niczem nie różniący się od niego dr. Weigel otrzymał największą ilość głosów. W Rzeszowie walka się toczyła na tle religijnem. Żydzi tamtejsi uchwalili wprawdzie bardzo radykalny program dla przyszłego posła, ale gdy zgłosił się o mandat prof. dr. Józef Rosenblatt (stańczyk żydowski, lub jak kto woli: żyd stańczykowski) wszystkie zasady opuściły lud Izraela, który jak jeden mąż stanął po stronie swego współwyznawcy. W odpowiedzi na to ludność katolicka zjednoczyła się około kandydatury p. Pogonowskiego i kilku głosami przechyliła na korzyść jego zwycięztwo.

Najciekawszym może był wybór krakowski, bo właściwie żadne stronnictwo nie może się cieszyć ze zwycięztwa. Z trzech wybranych, dr. Weigel był kandydatem wspólnym, dla żadnego stronnictwa ani zbyt ciepłym, ani zbyt zimnym, a ukochanym tylko przez żydów. Drugi wybrany dr. Henryk Jordan, był stawiony tylko przez konserwatystów, nie miał prawie całkiem za sobą głosów żydowskich, a otrzymał 1200 głosów na 2100 głosujących, ponieważ zaś konserwatyści nie rozporządzali więcej jak 600 głosami chrześcijańskiemi, ztąd wniosek, że połowę głosów otrzymał dr. Jordan od

*) W Wieliczce n. p. jeden z chłopów kiedy mu przedstawiono, iż kandydat chłopski jest człowiekiem złym, zepsutym i pijakiem, wyraził się: „To mi wszystko jedno; niech mi kołek postawią a na tym kołku powieszą czapkę chłopską, to za kołkiem będę głosował“.

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

LEON (*porywczo*).
Tak... tak! Szydź ze mnie!... Dosyć masz nas ludzi prostych!... Chcesz z pyłu codzienności, którym cię zapruszamy, otrząsnąć się w areopagu bogów, którym królujesz!...

(*Wirska wpada zdyszana.*)

WIRSKA (*oddycha z trudnością*).
Wandziu! Wandziu! twój mąż...

WANDA (*błędnie*).
Pani! ja nie mam męża.

WIRSKA (*j. w.*)
Twój mąż... umarł... Zastrzelił się!...

WANDA (*zrywa się, rażono*).
Kto pani to mówił! Kazio, nie żyje?

WIRSKA (*podaje telegram*).
Masz... od jego matki...

WANDA (*chwyta go, czyta*).
„Kazio... zastrzelił się... zawdzięczam to tobie“. (*patrzy błędnie*) Pani... pojadę!

WIRSKA (*z namaszczeniem*).
Jedź moje dziecko.. zawiniłaś ciężko... Nie możesz już naprawić okropnego błędu... Jedź, miejsce twe przy istocie, którą tak strasznie skrzywdziłaś!

WANDA (*z gorzkim uśmiechem*).
Ja zawiniłam... ja skrzywdziłam... (*błędnie*) Ha, ha, ha! (*wybiega*).

(*Długie milczenie.*)

LEON.
Więc dla niej się zastrzelił?...

WIRSKA.
Musiał ją kochać do szaleństwa... a ona go opuściła, zmarnowała mu talent... nie mógł żyć bez niej...

LEON (*szyderczo*).
Głupiec!... I zrobił jej przyjemność!

WIRSKA (*oburzona*).
Co ty mówisz! Czyż zbrodnia może być przyjemną?

LEON.
Czyż może być większy dowód potęgi dla kobiety, jak wywołanie samobójstwa mężczyzny?... Czyż jest silniejsze kadzidło dla jej próżności?

WIRSKA.
Jest nauczenie go życia.

LEON (*gorzko*).
One dbają o nasze życie!...

WIRSKA.
A wyrzuty sumienia?

LEON.
Kobieta nie zna co to sumienie, gdy chodzi o skrzywdzenie mężczyzny lub jej próżność.

(*Rózia wpada.*)

RÓZIA.
Mamo, co to jest?... Dla czego pani wyjeżdża?...

WIRSKA.
Mąż jej umarł.

LEON.
Zabił się.

RÓZIA.
Zabił się?... Dla niej się zabił?... By ją zadręczyć swą śmiercią?... Ah, to niegodziwe!...

LEON (*z ironią*).
Jaka szkoda, że dla niego kary już niema!

RÓZIA (*gwałtownie*).
Wanda już nie zazna spokoju! pójdę do niej... jaka ona biedna!... (*wychodzi*).

LEON (*jakby do siebie*).
A jednak... może Rózia ma słuszność?

WIRSKA.
Tylko jest tak zaślepioną, że nie widzi winy Wandy.

LEON.
Czy możemy być odpowiedzialni za szaleństwo drugich?...

umiarkowanych i liberałów. Ale bo też nie głosowano za nim jako za konserwatystą, lecz jako za człowiekiem wielkich zasług i wielkiego serca. Wiedziano, że człowiek ten kocha gorąco społeczeństwo, że mimo zaliczania się do obozu konserwatywnego nigdy dobra ogółu nie poświęci dla dobra stronnictwa. Jestto więc wybór zaszczytny dla wybranego i dla jego wyborców. Konserwatyści uratowali tylko honor przez to, że postawili kandydaturę osobistości tak popularnej. Oprócz bowiem dr. Weigla wybrano jeszcze drugiego liberała p. Rottera, dyrektora szkoły przemysłowej. Liberał ten pobił tylko kilkunastu głosami dotychczasowego posła Chrzanowskiego, a pobił głównie przez olbrzymio rozwiniętą za sobą agitacyę. Wszyscy technicy oddali swoje siły i zabiegi jego kandydaturze. On sam nie wahał się iść w przeddzień wyborów na dwa zebrania żydowskie i wypowiadać mówki przed tłumem Izraela. Była to zupełna nowość i do najwyższego stopnia niesmaczna. Każdy kandydat poprzestawał bowiem zawsze na wyznaniu swojej wiary politycznej na ogólnem zebraniu wyborców bez różnicy wyznania. Gwałtowna chęć posłowania zaprowadziła p. Rottera za daleko i stworzyła niebezpieczny precedens. W ubieganiu się o mandat potrzeba zachować miarę, jeżeli nie chce się zrodzić podejrzenia, że jedynie wygórowana ambicya i chęć wywyższenia się jest matką kandydatury.

K. Bartoszewicz.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„Katolik" bytomski zamieścił szereg programowych artykułów p. t. „Za prawdę, wolność i prawo". Artykuły te świadczą wymownie, że na śmiałe podniesienie sztandaru narodowego „Katolik" zdobyć się nie może i wciąż bije pokłony na progu stronnictwa centrum. Oto próbka bytomskiej polityki:

„1) Ruchowi ludowemu, gazetom polskim i kandydatom jego zarzucano, że chcą centrum na Górnym Szlązku ubić, że chcą przestać wybierać i należeć do partyi centrowej.

To jest zupełny fałsz, a „Katolik" może przytoczyć dowody jasne i niezbite, że to fałsz. Albowiem pan Szmula i p. Strzoda, wybrani przez wolę ludu i za pomocą gazet polskich przystąpili i należą do centrum. Tak samo p. Radwański, gdyby był został posłem, byłby przystąpił do centrum. We wszystkich odezwach było wyraźnie napisane, że kandydaci ludowi mają przystąpić do centrum. „Katolik" nigdy inaczej nie głosił; cała walka wyborcza ze strony ruchu ludowego odbywała się pod hasłem centrowem.

„Katolik" był i jest pismem centrowem, ale jest takiem pismem, które podziela zdanie, że partya centrowa albo będzie partyą ludową, albo zginie. My chcemy, aby partya centrowa istniała, ale nie jako partya pańska, konserwatywna, rządowa, lecz jako partya ludowa. Dla tego nie możemy popierać takich kandydatów, którzy powiększą w centrum liczbę posłów, naginających się ku konserwatystom lub ku rządowi, lecz takich, którzy na lud, na jego potrzeby i dążności zważają i podług tego swoje posłowanie urządzają. Ponieważ takim posłem nie może być ani p. Latacz, ani pan Huene, przeto nie możemy ich popierać. Jeżeli gdzie, to na G. Szlązku partya centrowa powinna być partyą ludową, bo tu centrum tylko i jedynie przez lud polski urosło i stoi.

Z tego wynika, że zupełnie nieprawdziwym jest zarzut, jakoby gazety polskie, a mianowicie „Katolik" lud od centrum oderwać chciały.

Z powodu skandalicznych paszkwilów dziennikarskich, pojawiających się od pewnego czasu w Poznaniu, a przechodzących w wyuzdaniu swojem wszystko, co dotychczas bagienko nasze na świat wydało, zamieszcza „Dziennik Poznański" (nr. 224) następujące zdrowe i jędrnem piórem skreślone uwagi:

„W ostatnich czasach zaszły znów wypadki dowodzące straszliwego obniżenia się poziomu moralnego pewnej części naszego dziennikarstwa i zmuszające nas do wypowiedzenia naszym kolegom po piórze kilku słów prawdy i przestrogi.

Zapewne, że skargi na coraz większy upadek prasy rozbrzmiewają wszędzie. Upadek ten jest naturalnym wytworem dzisiejszej cywilizacyi, pozostaje w bezpośrednim związku z coraz groźniejszym we wszystkich cywilizowanych społeczeństwach zanikiem ideałów, z nieprzebierającą w środkach pogonią za materyalnemi do brami i rozko zami

Jeśli jednak potężne i silne organizmy społeczne przetrwają jako tako zwycięzko chorobę, nurtującą je w postaci złej, sprzeniewierzającej się szczytnemu swemu zadaniu prasy, to dla nas, których całe istnienie polityczne spoczywa na podkładzie idealnym, choroba ta stać się może wprost zabójczą, a w każdym razie nieobliczone wyrządzić szkody.

Jeśli w którem, to w naszem społeczeństwie prasa świecić powinna przykładem uczciwości publicznej, nie tylko stać na straży ideałów, ale walczyć wszystkiemi siły przeciwko zgubnym prądom czasu.

Tymczasem dzieje się wręcz przeciwnie!

Zamiast podawać zdrowy pokarm społeczeństwu, karmimy je zatrutą strawą; zamiast dążyć do uszlachetnienia czytelników, spekulujemy na najgorsze ich instynkta, podsycamy niezdrowe pragnienia sensacyi, a siebie samych zamieniamy w gladyatorów, walczących z sobą na zabój ku uciesze bezmyślnej gawiedzi.

W wyznawcy przekonań odmiennych upatrujemy zawsze i wszędzie osobistego wroga, podsuwamy mu najohydniejsze motywa, a w walce z nim nie cofamy się przed żadną, choćby najhaniebniejszą bronią.

A przecież mężna i wytrwała obrona własnych przekonań da się pogodzić z poszanowaniem godności własnej i godności przeciwnika.

Nie dość na tem!

Wdzierać się już zaczynamy do ogniska domowego, stanowiącego świętość nietykalną dla każdego uczciwego człowieka, wywłóczymy w gorszący sposób na światło dzienne sprawy, pozbawione wszelkiego publicznego znaczenia, nie wahamy się obryzgiwać bezbronnych kobiet jadem naszej żółci i podłego dowcipu.

Z jakiemże więc czołem śmiemy się narzucać na kierowników i nauczycieli społeczeństwa, jeśli sami sztandar nasz nurzamy codziennie w błocie, jeśli broni, przeznaczonej do obrony najświętszych naszych praw i interesów, używamy ku zaspokojeniu najpodlejszych instynktów natury ludzkiej, ku osiągnięciu najbrudniejszych często celów? Jakiemże prawem żądamy poszanowania od innych, jeśli tak mało szanujemy samych siebie?

Niedługo przyjdzie do tego, że dziennikarz stanie się synonimem szubrawca, a człowiek przyzwoity za obrazę poczytywać będzie, jeśli go nazwą publicystą!

Szczytny i bogaty w błogodajne owoce zawód dziennikarza staje się klątwą dla społeczeństwa, skoro go przewrotne pochwycą dłonie, skoro dziennikarz z kierownika zamienia się w truciciela opinii.

Zaiste! czas największy położyć tamę tym mnożącym się wybrykom, temu gorszącemu i przybierającemu coraz groźniejsze rozmiary nadużywaniu drukowanego słowa i wyuzdaniu pióra."

Z powodu artykułu powyższego wypowiada takie zdanie „Orędownik" w nr. 225:

„Cóż się takiego stało w ostatnim czasie, że „Dziennik" w ten sposób pisze o naszej prasie i nawet wszystkie obozy polityczne wzywa do obrony swej godności? Jeżeli istotnie o „godność dziennikarską" chodzi, to ją nie tak dawno jeszcze sto razy gorzej deptano, aniżeli obecnie...

...Toż nie tak dawno temu sto razy gorzej wyglądało w naszem dziennikarstwie, i nikomu nie przyszło na myśl pytać się, co się dzieje z „godnością dziennikarską". Szarpano inaczej jak dziś dobre imię przeciwników, podsuwano im najpodlejsze motywa, miotano paszkwilami i oszczerstwami, wywłóczono ich prywatne sprawy, wdzierano się do rodzinnych stosunków nietylko kobiet, jak się skarży „Dziennik Poznański", ale nawet bezbronnych żon nie szczędzono. Przypominamy tylko, jak wywłóczono po gazetach sprawy prywatne panów Czapli i Grosmana z Inowrocławia, p. Moczyńskiego z Bydgoszczy, jak na dr. Szymańskim dokonywano na wszystkich stołach redakcyjnych wiwisekcyi! Wtedy „Dziennik Pozn." nietylko nie widział szubrawców, ale jeszcze tej robocie przyklaskiwał, a czasami dopomagał...

...„Dziennik" wzywa wszystkie obozy polityczne do solidarnej obrony godności prasy naszej. Jesteśmy wielkimi zwolennikami każdej solidarności, dopóki ona tylko nie jest przedrzeźnianiem zdrowego zmysłu i nie zakrawa na grób pobielany. W tym przypadku niech „Dziennik" nie liczy na naszą solidarność; pozostawimy go razem z „szubrawcami", niech się przed nimi ogania jak może.

Że w naszem dziennikarstwie nie wesoło wygląda, że rozchodzi się z niego zapach zgnilizny, że „Przegląd Pozn." bardzo słusznie zwrócił uwagę na zanikanie wszelkiej samodzielności w naszem dziennikarstwie, tego oczywiście zaprzeczyć nie można. Ale prasa może przy tem najmniej zawiniła; największa wina spada za to wszystko na społeczeństwo samo, ściślej mówiąc na jego przywódzców i patronów politycznych. Toć patrzeliśmy wszyscy własnemi oczyma na to, jak ci przywódzcy

---

WIRSKA.

Gdyby była przy nim została, nie byłby się zabił!

LEON.

A jeżeli zostać nie mogła?... Jeżeli samobójstwem jej groziło wspólne życie? Zresztą on omało jej nie zabił!

WIRSKA (*poważnie*).

Obowiązkiem żony wszystko znosić od męża.

LEON (*gwałtownie*).

To dzikie matko! Są rzeczy, których się od nikogo znieść nie powinno! I Wanda! Wanda!

WIRSKA.

Właśnie, właśnie ma się za nadzwyczajną kobietę dla tego, że rzępoli, zdaje jej się, że jej wszystko wolno, i że obowiązki ludzkie dla niej nie istnieją, bo ją Pan Bóg obdarzył talentem.

LEON.

A jeżeli rzeczywiście rozwijający się dzisiaj nowy ustrój moralny pociąga za sobą zmianę pojęć etycznych, więc postępowanie.

WIRSKA (*gorzko*).

Macie owoce waszej nowej etyki, a raczej waszego braku etyki; — bo wy chcecie być wolni aż do rozuzdania i przepisy moralności naginacie do waszych kaprysów.

LEON.

A jeżeli to, co nazywasz kaprysem, jest koniecznością naszych dusz, a swoboda, którą tak potępiasz, prawem naszem.

WIRSKA.

To wasze prawo jest bezprawiem! Świat cały niem zamieniacie na jeden wielki dom rozpusty! Trzeba więzów, by zostać uczciwym.

LEON.

To niewola dzisiejsza stwarza domy rozpusty; więzy są źródłem ukrytych zbrodni! A występki te są reakcyą niewoli, protestem ludzkiej natury!

WIRSKA.

Tak, tak! Gdy będzie można mieć 20-stu mężów po kolei, nie będziecie potrzebowali prostytucyi!

LEON (*gwałtownie*).

Mamo!

WIRSKA.

Wiem, że jesteś za rozwodem; tym razem czyś nie współwinowajcą? Ułatwiłeś jej opuszczenie męża, by ją bałamucić.

LEON (*dotknięty, wściekle*).

Mamo! Wanda jest uczciwą!

WIRSKA.

A jednak rozwód jest plamą na jej czystości.

LEON (*j. w.*)

Ona się rozwiodła, by nie cuchnąć błotem!

WIRSKA.

W małżeństwie nie ma błota. To sakrament.

LEON (*j. w.*)

To chlew często!

WIRSKA (*obrażona*).

Pamiętaj, do kogo mówisz!

LEON (*j. w.*)

Dla czego ją krzywdzisz?...

WIRSKA.

Wiesz, że ją lubię i przygarnęłam do siebie zniesławioną i przebaczyłam...

LEON (*porywczo*).

Nie potrzebowała naś! Drwi z opinii! postępuje według własnych przekonań i jest czystą. Co jej ty matko i ktokolwiek ma do przebaczenia?!

WIRSKA.

Rzucenie plamy na ród szanowany.

LEON.

Bodajby nasz innych nie miał, a byłby czystym jak dyament.

WIRSKA (*rozgniewana*).

Co ty mówisz o naszej rodzinie? Może ja ją splamiłam?...

LEON (*z żalem, całuje ją*).

Mamo, co ty mówisz! — Tylko nie oskarżaj kobiety nieszczęśliwszej od siebie... Idź do niej.

jednę gazetę po drugiej krępowali jak barana, więc się też dziwić nie należy, że przy ogólnem rozbiciu zgnilizna wewnętrzna przedostaje się także do gazet naszych.

I pod tym względem jest nasze dziennikarstwo tylko odblaskiem naszego wewnętrznego, moralnego stanu."

Przegląd prasy słowiańskiej.

Bułgarska „Swoboda", donosząc o uwięzieniu przez policyą w Ruszczuku indywiduum, które w przebraniu kobiecem chciało podczas pobytu księcia wyjednać sobie audyencyą u niego, pisze co następuje:

„Nie ma najmniejszej wątpliwości, że agenci rosyjscy przygotowują nowy zamach w Bułgaryi, którego ofiarą padnie książę. Dawniej wmawiano w księcia, że Stambułow go straszy zamachami, aby go uczynić powolnym swoim zamiarom, dziś Stambułowa nie ma, a policya jednakowoż fakta takie stwierdza. Nienawiść ludzi zaprzedanych Rosyi nie zwraca się teraz jak oni przeciw prezesowi ministerstwa, bo wszyscy wiedzą, że Stoiłow jest manekinem, że nie reprezentuje niczego, jak ongi Stambułow. Wszystko więc zwraca się przeciw księciu. Kłamstwem jest, jakoby dzisiejsze partye polityczne dążyły do umocnienia dynastyi. Tak można sądzić jedynie o naszem stronnictwie, o radosławistach i kilku konserwatystach, wszyscy zresztą są oddani duszą i ciałem idei rosyjskiej. Do czego Rosya dąży, do tego dążą i oni; a ponieważ jest rzeczą znaną, że Rosya jest przeciwniczką księcia, przeto i oni przeciw niemu występują.

„Rosya broi na Bałkanie w myśl swego programu, który posiada tradycyą historyczną. Jej trzeba księcia, który będzie ślepem narzędziem w jej ręku, a tego zaufania do księcia Ferdynanda nigdy mieć nie będzie. Dziś Rosya zbliża się szybkim krokiem do urzeczywistnienia swych idei, a stronnictwa obecne, nie wyjmując rządowego, są jej pomocne.

„Mówią dziś ludzie stojący na czele rządu, a razem z nimi i książę Ferdynand, że partyzanci Stambułowa byli najniebezpieczniejszymi wrogami księcia. Atoli nie nasi partyzanci brali udział w morderstwach publicznych. Bohaterami polityki sztyletowej i rewolwerowej są wychowańcy polityki rosyjskiej, którzy dzisiaj są prawą ręką księcia. Nie groziło nigdy ze strony naszej niebezpieczeństwo księciu Ferdynandowi, ale grozi mu bezustannie ze strony tych, którzy dziś czekają rozkazu z Petersburga i gotowi są każdej chwili tak działać, jak im z Petersburga rozkażą.

Dziś partya rusofilska radzi, że książę sam zrzeknie się tronu; jeżeli to nie nastąpi, wówczas ta sama ręka, która rozdawała dynamit i rewolwery przeciw Stambułowowi, uzbroi ludzi przeciw księciu. Wówczas to przekonają się wszyscy, że system polityki rosyjskiej, napiętnowanej przez Stambułowa jako system morderstw i grabieży pozostanie tym samym i w przyszłości."

* * *

„Hrvatski Branik" donosi w korespondencyi z Osieka (Sławonia):

„Na nic się Madziarom nie przydało, że chcieli w mieście naszem mieć przedstawienia madziarskie; zbiegowisko, jakie ztąd powstało i groźna postawa ludności nakłoniły ich do zaniechania zamiaru. Dziś tych kilku żydówmadziarów, którzy w mieście naszem przebywają, postanowiło założyć madziarską czytelnię. Przy tej sposobności chcieli urządzić zabawę z tańcami. Ale w całym Osieku nie znalazł się ani jeden Chorwat, któryby im lokal wynajął. Nareszcie znaleziono lokal na przedmieściu. Nasi Madziarzy posiadali tyle czelności, iż zaprosili na bal tutejszą inteligencyą chorwacką, które to zaproszenia im odesłano. („Kiedy się zabawa skończyła nie chcieli synowie szlachetnego narodu madziarsko-izraelskiego za napoje i salę zapłacić, tak że hotelista zmuszony był wziąć w zastaw chorągiew nowej „czytelni", którą związek patryotycznych Madziarek z Budapesztu towarzystwom takim przysyła".)"

* * *

O wiecu młodoczeskich mężów zaufania piszą „Narodni Listy":

„Obecnych na zgromadzeniu mężów zaufania było 1307. Morawsko-czeskie stronnictwo ludowe było reprezentowane przez 15 członków; t. z. partya omladynistów nie była obecną, ponieważ jej nie zaproszono, a to z tego powodu, iż w imieniu stronnictwa tego oświadczono, że uchwały wiecu młodoczeskiego nie będą go obowięzywały.

„Na pierwszym planie dyskusyi stała kwestya co do zachowania się frakcyi młodoczeskiej wobec nowego rządu. Żądanie dr. Kaizla, ażeby stronnictwo wobec gabinetu Badeniego zajęło stanowisko bezwzględnie opozycyjne nie znalazło większości.

„Wiec powitał wiceprezydent miasta Pragi dr. Podlipny, naznaczywszy, iż naród, który rocznie płaci 70 milionów złr. podatku i daje 20 tysięcy rekruta nie jest ani biednym ani małym, naród taki może stać o własnych siłach.

„Dr. Herold na zarzuty radykała dr. Kaizla odpowiedział mniej więcej: Moją zasadą jest działać tak, jak tego żąda większość; nie zważam na to, czy mnie nazwą mniej radykalnym od innych. Zawsze atoli sam będę prawdę mówił; nigdy nie należałem do tych, którzy czczemi frazesami wojują; do nich należeć nie będę, choćby mnie nazywano kandydatem na radzcę dworu lub ministerstwa.

„Dr. Gregr zwrócił się w mowie swej przeciw radykałowi Kaizlowi.

„Dr. Vaszaty, Szamanek i Purghardt udziału w obradach nie brali".

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Frank i Frankiści polscy.

Monografia historyczna Aleksandra Kraushara*).

Znany zaszczytnie na polu historyografii autor obdarzył nas nowem dwutomowem dziełem, poświęconem wyjaśnieniu nader ciekawego zjawiska z życia żydów w Polsce. Dzieło to jest prawdziwym wzorem krytycznego badania historycznego i stanowczem wyjaśnieniem tej zawiłej sprawy, o której mnóstwo dotąd jeszcze krąży wieści bałamutnych, opowiadań romantycznych i tajemniczo-mistycznych bajek. Piękna rozprawa o Frankistach to tryumf szkoły, której ozdobą jest p. Kraushar. Wprawdzie szkoła ta nowych tryumfów do zwycięztwa nie potrzebuje, a nawet zbytecznem zda się mówić o nich, bo w świecie cywilizowanym szkoła krytyczna w historyi już zdawien dawna pokonała wszystkie przeciwne sobie kierunki.

Sądzimy przeto, że p. Kraushar uśmiechnie się może, jeżeli wpadnie mu do ręki mniejsze sprawozdanie. Uśmiechnie się i zdziwi, że na tę cechę jego pracy ktoś uważa za potrzebne zwracać jeszcze uwagę. Dobrze uśmiechać się panu Krausharowi, ale tu w Poznaniu inaczej się dzieje jak w świecie cywilizowanym i dla tego inaczej wypada nieraz mówić, powtarzając rzeczy, które nowe były gdzieindziej przed laty dwudziestu. Nam np. wpadła w rękę książka p. Kraushara zaraz po przeczytaniu pracy pana Fr. Habury: „Prawa, warunki i środki postępu

*) Nakładem G. Gebethnera i Spółki w Krakowie 1895.

WIRSKA (*łagodnie*).

Masz słuszność... Zabić człwieka... Biedne dziecko! (*wychodzi*).

LEON (*sam, gorzko*).

Co to jest, że ją bronię przed innymi, a sam ją w głębi duszy oskarżam?... Co to jest, że mi się zdaje, że ja jeden mam prawo o niej źle myśleć, sądzić ją? Co to jest, że gdy drudzy ją szarpią, staje się dla mnie czystą i drogą, a gdy zostaję sam z sobą, nie wierzę jej, bryzgam na nią brudnemi myślami... i prawie nienawidzę?...

Akt III.

(Rzecz w mieście. Obszerna sala, dużo szkolnych, dla niepoznaki rozrzuconych, stołów. Ukryta szkoła. Dziewczynki siedzą przy jednych, chłopcy przy drugich. — Słońce skośnie wpada do sali, oświetlając nagie ściany. W głębi drzwi do pokoju Wandy).

WANDA (*w ciemnej sukni, chodząc między stołami*).

Mówiłam wam zatem dzisiaj o zwierzętach pożytecznych i szkodliwych. Maniu, wymień mi kilka pożytecznych.

MANIA.

Wół... owca... koń...

OLEŚ.

Proszę pani... czasem są takie żywe konie, które zrzucają z siodła, jak tylko na nie wsiąść, stają dęba lub tak lecą, że sobie kark skręcić można... Czy takie konie są pożyteczne?

FRANEK.

A pewno, trzeba je tylko mocno bić i morzyć głodem, i owsa nie dawać...

OLEŚ.

Ale proszę pani... są takie konie, które w żaden sposób nie dają się oswoić... takie narowne konie.

FRANEK.

Takie to widziałem, że zaprzągane do gnojówek, a jak nie chciały ciągnąć, to im w łeb strzelano.

WANDA (*z gorzkim wyrazem ust słucha*).

Franek, ty mi powiedz, jakie zwierzęta są szkodliwe.

FRANEK (*myśli*).

Kuna... lis... osa...

WANDA.

Bardzo dobrze... Wymień ich jeszcze kilka.

FRANEK.

Orzeł... Sokół... Lew...

OLEŚ.

A to proszę pani, gdyby wyrwał orłowi skrzydła, i pazury i dziób wyprostować, toby już nie był szkodliwy.

WANDA (*zadumana*).

Ale i żyćby nie mógł.

OLEŚ.

A to proszę pani... Mówią ludzie, że wtedy, gdy człowieka nie było jeszcze na świecie, wszystkie zwierzęta były łagodne i wszystkie Bóg przeznaczył na pożytek człowiekowi, lecz gdy przyszedł, to jedne zwierzęta co łagodniejsze oswoił, a tamte zaczął męczyć i zabijać, aż się przelękły, znienawidziły go i mścić się poczęły za krzywdy... (*patrzy na Wandę pytająco*).

WANDA (*zajęta*).

I cóż dalej?

OLEŚ (*chrząka*).

A tak, proszę pani, mówią ludzie... To jak pierwszy człowiek zgubił się w takim gęstym lesie, co to przejść przez niego trudno, to wąż ogromny rozłożył się przed nim, tak jak szła droga do jego chałupy, a lwisko strasznie obcinało kłami krzaki, by iść mógł łatwo... (*patrzy na nią*).

WANDA (*zachęcająco*).

Mów dalej; ładna bajka.

OLEŚ.

A to, proszę pani, nie wiem, czy to prawda, ale tak mówią ludzie, że ten człowiek to był wielki tchórz i bał się tej żmii i tego lwa, nie rozumiał, że to zwierzyska dobre, tylko myślał, że chcą go zabić, więc wziął kamień i urwał łeb wężowi, a gdy to lew zobaczył, zaryczał i uciekł ze strachu, lecz odtąd kiedy mógł, to pożerał ludzi, a żmije jad mają i kąsają ich. Czy to prawda, proszę pani?

ludzkości“. W pracy tej znajduje się przypisek następujący: „Kiedy w r. 1870 słynny nasz historyk p. Ł. Tatomir głosił tę teoryę (o posłannictwie mesyjanicznem Polski) w publicznym odczycie na temat: „Kresowe posłannictwo Polski“ zaprotestował przeciw teoryi recenzent jego p. W. w nr. 14 „Dziennika literackiego“, nazywając ją równie fałszywą jak utartą a wszelką możliwość rzeczywistej nauki historyi z gruntu podkopującą. Otóż p. Fr. Habura wobec takiego świętokradztwa pełen jest wzniosłego oburzenia i takie wypowiada zdanie: „Udowodnienie przeciwnej teoryi, t. j. że narody nie mają posłannictw, jest daleko trudniejsze, jako teoryi nieumiejętnej i niepatryotycznej (!). Jest ona córą dyletantyzmu, który raz już w nauce polskiej, zupełnie polskiej ustać powinien, bo siła jego li tylko na powadze panujących, w modzie będących doktryn polega i dla tego też przyrodzonym tylko rozumem wojuje (!). Twierdzi p. W., że teorya ta w zastosowaniu do narodu polskiego jest niedorzeczną, bo o posłannictwie narodu można wnioskować wtedy dopiero, gdy historya jego została dokładnie zbadaną, gdy tymczasem w badaniach historyi narodu polskiego dziś dopiero poczęto pierwsze stawiać kroki. Na to odpowiadamy, że p. W. chyba nie słyszał o Długoszu, Kromerze, Wapowskim, Kochowskim, Piaseckim, Naruszewiczu, Lelewelu, Szajnosze, Bielowskim i wielu innych, że chyba nie zna literatury historyograficznej polskiej tak bogatej i gruntownej, itd. itd. Żałujemy doprawdy, że nie możemy ku zbudowaniu ogółu przytoczyć całego ustępu tak charakterystycznego, gdyż wykazuje on, co u nas na gruncie poznańskim uchodzi za naukę u oficyalnych jej przedstawicieli. (Rozprawę bowiem p. Habury pomieszczono w „Rocznikach poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk“ tom XX, w roku od narodzenia Chrystusa 1894.) W roku 1879 Michał Bobrzyński tak pisał o teoryi Lelewelowskiej: „Usunięto naród polski i jego przeszłość z pod praw ogólnych, którym w rozwoju swoim ulegają inne narody, przyznano mu wyjątkową rolę i posłannictwo w ludzkości i dla tej misyi pozwolono mu istnieć bez poszanowania rządu i prawa, bez wojska i podatków.... Był to już zupełny obłęd“. Wtedy już zatem Bobrzyński mniemał, że owa teorya o „Chrystusie narodów“ należy do przeszłości i zaczął się czas prawdziwie głębokich, rozległych i krytycznych prac na polu historycznem. Minęło lat szesnaście, pojawiła się prac takich obfitość. Ale to się działo gdzieś tam na szerokim świecie. Tu w Poznaniu mamy Towarzystwo przyjaciół nauk, a w jego rocznikach p. Habura „nadprzyrodzonym“ wojuje rozumem. Ale pozostawmy roczniki Towarzystwa i p. Haburę — „umarłego wśród umarłych“. Wróćmy do Kraushara i jego monografii.

W drugiej połowie XVIII wieku żydzi w Polsce poczęli tłumnie przechodzić na wiarę katolicką, co już wówczas zwracało powszechną uwagę. Na czele tego ruchu stał żyd Jakób Frank, zrodzony na kresach Polski. Zespolił on w sobie rojenia dziwacznych sekt żydów południowo-europejskich, i w końcu przeszedłszy wprzódy przez muzułmanizm został chrześcianinem i pociągnął za sobą kilkotysięczny tłum. Ludzie ci jednakże zostawszy katolikami, przez cały czas odprawiali „tajemnicze jakieś praktyki“ i pozostawali pod bezpośrednim wpływem Franka. Władza duchowna widząc w tem objawy sekciarstwa, wytoczyła Frankowi proces w roku 1760, zakończony zesłaniem przywódzcy do Częstochowy. Ztamtąd po trzynastoletnim pobycie został uwolniony po zdobyciu Częstochowy przez rosyjskiego generała Bibikowa w r. 1772. Wkrótce potem udał się on zagranicę i bawił kolejno w Brnie Morawskiem, Wiedniu i Offenbachu. Tu nie wiedziano o przeszłości prowodyra sekty i dozwolono mu żyć zupełnie według swoich upodobań, dzięki łasce Józefa II, która spłynęła na całą sektę na mocy uczuć, jakie wzbudzały w monarsze wdzięki pięknej córy Franka, panny Ewy. Frank urządził sobie dwór z przepychem azyatyckim, otoczył się zbrojną drużyną w strojach polskich, tureckich i węgierskich, i wiódł życie tajemnicze. Nic więc dziwnego, że łatwo mogły się zrodzić wieści o tajemniczych stosunkach jego z jakimś domem panującym, o misyach politycznych, o skarbach nieprzebranych, pochodzących z tajemniczego źródła. Bajki te krążyły wśród ludności okolicznej i w końcu dostały się do literatury. Pan Kraushar przedsięwziął nielada pracę rozwikłania całej tej tajemniczej historyi, badając dokumenty złożone w różnych archiwach, śledząc najdrobniejsze objawy w życiu sekty, układając ścisłą statystykę ich liczby itd.

Na zasadzie jego pracy wiemy dziś, że Frank był jednym z owych licznych oszustów, którzy umieją grać na strunie uczuć religijnych i wyciągać tym sposobem korzyści dla zaspokojenia bardzo poziomych instynktów i aspiracyi. Rozbierając krytycznie własne opowiadania pseudo proroka złożone w „kronice“, jednej z ksiąg napisanych fantastycznym językiem, które pochodzą bezpośrednio od Franka, przedstawia nam autor jego wiek chłopięcy. Był to chłopak nader energiczny, sprytny, okrutny, odważny, bezczelny, a przytem obdarzony bujną fantazyą. Włócząc się w młodym wieku po wschodniej Europie zapoznał się z sekciarzami żydowskimi zostającemi pod wpływem Sabbataja Cwi. „Negowalioni zasady Judaizmu, zachowawszy jedynie z obrządków tej wiary obrzezanie, a z pisma św. pieśni nad pieśniami, której miłosne zwrotki melodyjnością swoją mile ich ucho pieściły...“ „Poznanie się Franka z jednym z chachamów (mędrców) smyrneńskich, Issacharem około roku 1750, było ową iskierką, która podniecona już zkadinąd rozmaitemi messyjenicznemi mrzonkami wyobraźnię młodzieńca, rozpaliła żądzą wstąpienia w ślady Sabbataja uczynienia się prowodyrem tłumów żydowskich, z nieograniczoną władzą nad ich sumieniami i kiesami, i odegrania po raz wtóry roli proroka, wieszczącego tłumom tajemniczą naukę o bóstwie, a w końcu — i roli króla żydowskiego, a nawet ich Messyasza“. Te marzenia sławy i władzy stały się jedną z głównych sprężyn, kierujących młodym awanturnikiem; charakterystycznym np. w wysokim stopniu jest fakt, że młody aspirant do messyanizmu odmawiał Sabbatajowi prawa do bóstwa, ze względu, że umarł nie zaznawszy najwyższej słodyczy — słodyczy panowania“. Obok tej żądzy panowania, wypowiadanej tak bez ogródek, duszę jego opanowała chuć zmysłowa, rozbudzona rownież przez obcowanie z ową sabbatajską sektą. W kole tem dopuszczano się, pod pozorem obrządków religijnych, najwszeteczniejszych nadużyć płciowych... Polygamia i polyandrya były tu objawem zwykłym, podniesionym do godności kultu religijnego“. Chęć panowania i lubieżności kierowały też wszystkiemi krokami Franka aż do śmierci.

Tajemnicze, lubieżne praktyki sekciarza dały powód gminie żydowskiej do wystąpienia przeciw nowatorowi niedogodnemu, bo napadającemu na talmudystów. Prawowierni żydzi przedstawili rzecz tak, jak gdyby prześladowano go za nauki zbliżone do katolicyzmu, przedewszystkiem za naukę o trójcy. Biskup podolski skorzystał z tego, wmieszał się do sprawy i wyznaczył dysputę pomiędzy talmudystami i sektą Franka, która przybrała nazwę antitalmudystów. Przy pomocy duchowieństwa i urzędów antitalmudyści wyszli zwycięzko z tej dysputy. Jednakże po śmierci biskupa karta się odwróciła i zdawało się na chwilę, że żydzi wzięli górę a rola Frankistów w Polsce ma się ku końcowi. Wódz sekty, który krótko „panem“ zwać się rozkazał, siedział przez ten czas w Turcyi i został mahometaninem. Jednakże zabiegom wyznawców jego w Polsce udało się uzyskać protekcyę dworu dla antitalmudystów, gdyż zawsze jeszcze widziano w nich ludzi, zbliżających się wyznaniem swojem do wiary Chrystusa. Wówczas Frank wrócił na Podole

---

WANDA (*zadumana chodząc, z goryczą*).
To bajka!

MANIA.
To człowiek byłby szczęśliwszy, gdyby nie był tchórzem. Jechałby na lwie jak na koniu, a węże brałyby z jego ręki chleb jak psy...

JADZIA.
A proszę pani, czy gdyby człowiek teraz zaczął być dobrym dla tych szkodliwych zwierząt, czyby one mogły stać się pożyteczne?

WANDA (*posępnie, z głębi zadumy*).
Dziś zapóźno!

OLEŚ.
To, proszę pani, teraz trzeba je do końca zabijać?

WANDA (*j. w.*)
Jest ich tak mało!

OLEŚ.
A proszę pani, dla czego człowiek czasami łapie zwierzęta i w klatki je kładzie?... Na Bagateli i ja je widziałem... Miały takie smutne oczy, jakby tęskniły do lasu... A ludzie to patrzeli się i dziwowali, że takie straszne zwierzyska jeszcze istnieją.

FRANEK.
Tak ich już mało, że łapią, bo to ciekawość.

OLEŚ.
Proszę pani, to już lepiej zabić je od razu, niż męczyć.

MANIA.
To się rozumie, są szczęśliwe tylko na swobodzie. To pewnie dla tego człowiek je łapie, by im dokuczać i śmiać się z ich kłów strasznych i ryku...

OLEŚ.
Ale czasami, proszę pani, lwy się mszczą i pożerają dozorców. Raz im lew uciekł i strachu narobił w całej Warszawie... Ludzie bali się wyjść na ulicę, żeby go nie spotkać i nie wpaść w jego pazury...

JADZIA (*nagle*).
Co pani jest? Pani taka blada!

WANDA (*blada ze znużenia*).
Nie, moje dzieci kochane, dziś jestem niezdrowa... idźcie już; tylko nie razem, po jednemu.

OLEŚ.
O! wiemy, proszę pani... żeby rewirowy lub jaki szpieg nie zobaczył... Boby pani miała kłopot i mybyśmy uczyć się nie mogli...

WANDA.
Maniu, idź ty pierwsza (*Mania wychodzi*).

OLEŚ.
Proszę pani... wczoraj tu mnie zaczepił koło domu jakiś pan i pytał, zkąd wracam...

WANDA (*niespokojnie*).
I cóżeś odpowiedział?

OLEŚ.
O, nie głupim! pokazałem mu język i uciekłem, bo gdybym mu odpowiedział, toby on z pewnością myślał, że chcę skłamać... A tak to wziął mnie za łobuza i rozgniewał się.

WANDA.
Franek, poczekaj chwilę, potem pójdziesz. Tak róbcie wszyscy po kolei (*wychodzi*).

OLEŚ.
Nie zabieraj Franek książki, bo cię zrewidują i panią naszą na Sybir wyszlą za to, że chce nas uczyć...

FRANEK.
Kiedy ja chcę czytać w domu... wezmę pod sukmankę, to nie będzie znać.

WANDA (*wraca z koszem jabłek*).
Ot, macie dzieci, podzielcie się... Bywajcie zdrowe! Do poniedziałku.

DZIECI (*żegnają się z nią tłumnie*).
Dobrze, proszę pani.

* * *

(Ciąg dalszy nastąpi.)

i otwarcie zaczął namawiać żydów do przejścia na katolicyzm, licząc jednakże na to, że będzie mógł zachować nad umysłem prostaczków nieograniczoną, tyrańską władzę. Na czem polegał wpływ ten, trudno wyrozumować. Może jedynie na tajemniczości, jaką się „pan" otoczył, na niezrozumiałych obrządkach, tajemniczych formułkach itd. Swoich praktyk lubieżnych nie zaprzestał i wówczas nowy prorok, otoczony całym haremem, śród którego działy się rzeczy bynajmniej nie licujące z nauką proroka. Bądź co bądź duchowieństwo uwierzyło w szczere intencye frankistów i po ponownych dysputach z talmudystami. których posądzono o mordy rytualne (bajka ciesząca się wówczas szczególną popularnością). kilkuset mafitów przeszło na łono katolicyzmu, a w końcu sam Frank.

Jednakże owe praktyki tajemnicze spowodowały, jak wspomnieliśmy powyżej, osadzenie Franka wyrokiem sądowym w twierdzy częstochowskiej.

Oswobodzony po latach trzynastu „pan" wyjechał za granicę. ale zawsze jeszcze, nawet z oddalenia, wywierał bajeczny wpływ na ową grupę neofitów, którzy będąc chrześcianami, nie mogąc się jednakże zespolić ze społeczeństwem, pozostawali i nadal odrębną grupą. Wpływu tego pseudo-prorok używał do spraw bardzo poziomych — do wyłudzania pieniędzy od wiernych i do zaopatrywania swojego dworu w mężczyzn zbrojnych i kobiety. Pieniądze wysyłane do Polski, wdzięki córki, która na czas krótki została metresą Józefa II i zręczne szwindle pozwoliły Frankowi prowadzić do śmierci żywot pański w Niemczech i tumanić umysły ludzi. Po śmierci sekciarza córka jego, panna Ewa, czyli właściwiej Awacza, starała się dalej przeciągać komedyę, jednakże rzecz cała skończyła się najzwyklejszym procesem o podstępne bankructwo.

Pan Kraushar całą tę dziwaczną naturę przebiegłego oszusta przedstawił nam w sposób realny, popierając każde swoje twierdzenie dodokumentami historycznemi. Dzieło jego ma znaczenie podwójne. Przedstawia ono wierny obraz charakterystycznego dla danej epoki faktu, a zarazem jest przyczynkiem do historyi powstania sekt religijnych. Szczególnie cennym też nabytkiem dla badacza są pod tym względem obszerne wyjątki z ksiąg frankistów, przytoczone przez autora.

Mimochodem, że tak powiem, załatwia pan Kraushar jednę z ciekawych kwestyi państwowego prawa Polskiego. Mianowicie kwestyę wyzyskiwania szlachectwa przez neofitów. Dotąd utrzymuje się bowiem jeszcze pogląd, że neofita, przyjmujący katolicyzm, tem samem nabywał praw szlacheckich. Trudno pogodzić to ze znanym faktem, że szlachta polska zazdrośnie strzegła swego klejnotu i nieraz znakomitym cudzoziemcom odmawiała tego zaszczytu, chociaż się oń ubiegali. Mimo to faktem jest, że niejednokrotnie zdarzały się nobilitacye żydów ochrzconych. Otóż pan Kraushar wyjaśnia rzecz tak: „w statucie litewskim z roku 1588, do art. V roz. X stanowi: „jeżeliby który żyd lub żydówka do wiary chrześciańskiej przystąpili, tedy każda taka osoba i potomstwo ich za szlachcica poczytane być mają."" Jednakże przepis ten umieszczony jest w rozdziale „O główszczyznach i nawiązkach ludzi nieszlacheckiego stanu"; w rozdz. III zaś statutu „O szlachcie i jej przywilejach" nie ma wzmianki o neofitach.

A więc wnioskuje autor, jak sądzimy słusznie, prawodawca chciał jedynie przez nałożenie kary na zabójcę ochronić życie neofity, wystawionego na niebezpieczeństwo, z powodu nienawiści dawnych spółwyznawców i dla tego, mówiąc o karach za zabójstwo, umieścił żyda obok szlachcica, ale szlachcicem go nie miał zamiaru robić. Dopiero później interpretatorzy za hojną zapłatą wyrabiali na tej zasadzie neofitom szlachectwo, co zawsze było opacznem tłomaczeniem prawa. Słusznie bowiem twierdzi autor: „Zasada interpretacyi prawa polega na dokładnem rozumieniu całości przepisów, ich pobudek i celów, a nie na cząstkowem i oderwanem od całości ich stosowaniu". Naturalnie historycy à la pan Habura widzieliby tu zaraz objaw gorliwości religijnej i Chrystusowej pokory szlachty polskiej, która żyda neofitę przyjmuje za brata.

Mar.....ski.

Kobieta na scenie.

I.

Gustaw Dahms przysłużył się wielce pięknej połowie niemieckiego społeczeństwa swem wydawnictwem, zatytułowanem „Walka o byt kobiety w życiu nowoczesnem" (Der Geistenskamf der Frau im modernen Leben"). Takim tytułem został powiązany niezakończony jeszcze szereg broszur, oświetlających ekonomiczne stanowisko kobiety niemieckiej na różnych polach życia społecznego. Przed kilku tygodniami rozpatrywaliśmy kwestyę małżeńską w Niemczech na podstawie opinii z tych książeczek, napisanej przez prof. Haushofera. Dziś wydawnictwo posunęło się już o tyle naprzód, iż możemy przedstawić położenie kobiety niemieckiej w stosunku do danych źródeł utrzymania. Zaczniemy od sceny.

Dziwnem się może wydać niejednemu, iż kobieta, występująca na deskach teatru, jest wytworem zaledwie kilku ostatnich stuleci. Rolę Antygony w starożytności i pokutującej Magdaleny w wiekach średnich grali mężczyźni w stroju kobiecym. Dopiero włoskie wędrowne trupy, którym łatwo było wyłamać się z pod reguły powszechnej, pierwsze wprowadziły kobietę na scenę. Za ich przykładem poszły i lepsze teatry, gdy trzeba było nabyć dla chóru głos sopranowy. U chłopców bowiem kształconych w śpiewie, tak szybkie następowały zmiany w głosie, iż niekiedy wszelkie trudy kładzione na ich kształcenie szły na marne. Od tego czasu kobieta stała się niezbędnem akcesoryum sceny i, wyrażając się w sposób zbyt profanujący może przenośnie, kapłanką Melpomeny i Talii. W Niemczech — bierzemy w obecnym artykule Niemcy za przykład, ale i gdzieindziej dzieje się podobnież — po dziś dzień jednak rodzice wyklinają córkę, która otrząsa z nóg proch domu ojcowskiego, by porzucić takowy dla teatru. Szczytem hańby jest w Niemczech dla ojca widzieć, jak w obnażone plecy jego niewinnej córki wpijają się rozpalone oczy młodzieńców, a jej usta całuje w obecności całego tłumu jakiś aktor-szałaput. A jakże drży biedna matka na samą myśl, iż jej dziecko, wychowane w obyczajowości, styka się z kolegami i koleżankami, których przeszłość jest ciemną i którzy, jak rozbitki, może zostali wyrzuceni na scenę po przebyciu rozmaitych burz życiowych. Stosunek artystki do jej koleżeństwa nie może być żadną miarą platoniczny. W żadnym zawodzie bowiem w Niemczech nie wre tak walka konkurencyjna, jak w zawodzie dramatycznym. Ci sami artyści, którzy się na scenie całują i karesują, oświadczają i kochają, wydrapują sobie oczy, gdy zetkną się przy współubieganiu o jakąś rolę. Zawziętością taką odznacza się cały personał teatralny, zaczynając od pierwszej gwiazdy scenicznej, a kończąc na ostatniej subretce. Nie należy w tem upatrywać jakiegoś rozczulającego zamiłowania do swego zawodu. Nikomu na świecie chyba nie zależy tak na przestrzeganiu maksymy „carpe diem", jak artyście. Musi on do swego wieńca chwały codzień niemal wplatać świeże kwiaty sławy i powodzenia, gdyż prędko więdną. Artysta dramatyczny nie jest w stanie produkcyi swego ducha zakuć w marmur, ucieleśnić w farbach i unieśmiertelnić w nutach. Powodzenie jego nie jest wiecznie palącym się ogniem... Jest to płomień, który zaczyna gasnąć z chwilą, gdy zamilknie ostatni oklask zebranej w teatrze publiczności i dla tego należy go ciągle podtrzymywać i podsycać. Tryumfy byłego faworyta publiczności idą prędko w zapomnienie, gdy artysta

---

Hr. LEW TOŁSTOJ (syn).

POKUSA.

(Dokończenie.)

Może też zaraz załatwimy interes, gołąbeńku — powtarza pani Marya, zbliżając się do sali, w której goście z „damami" tańczyli kadryla, a z której dochodziły rozmaite odgłosy.

— Jestem gotowa, jestem na pańskie rozkazy, ale pan wiesz...

Nie dokończyła zdania, gdy wypadł z sali młody studencik jak szalony i uderzył ją czołem w zęby. Pani Marya zachwiała się pod ciosem i schwyciła się obydwoma rękoma za usta. Potem splunęła krwią.

— O Boże! mój Boże! — jęczy boleśnie — krew! Do krwi ten waryat mię rozbił. Jak opętani są te chłopcy... ach...

Kilka damulek przybiegło, mały człowieczyna również.

— Podać pani wody? — mówi usłużnie.

— Przynieś, gołąbeńku, O Boże! gromy na tych waryatów... — jęczy pani Marya. — Cóż się stało z tym młodzikiem? oszalał? Przeklęty żółtodziób!

Splunęła w kąt, w który poleciał jej papieros i wymyślała jeszcze dobitniej.

Własow rozbił sobie także głowę, lecz odwrócił się tylko raz jeden i pobiegł do przedpokoju.

„Mój gołąbeńku" słyszał, jak za nim wołano. To samo słyszał już przedtem, zanim ową kobietę roztrącił.

— „Gołąbeńku" — powtarzał Własow, a wyraz ten wydawał mu się urągowiskiem wobec miejsca, w którem był wymieniony.

Wyrwał płaszcz z ręki odźwiernego, zarzucił go na ramiona i pędził na dół po schodach do drzwi, wiodących na ulicę.

— Nie spieszcie się tak, panie, przyjdziesz pan jeszcze na czas — woła za nim drwiąc zaspany odźwierny, który niemało miał roboty z wyszukaniem płaszcza Własowa.

Na dole Własow zatrzymał się. Pełną piersią wciągnął w siebie zimne, mroźne powietrze. Cicho było. Ciemne niebo skrzyło się gwiazdami, nad głową jego błyszczała konstelacya wielkiego niedźwiedzia. Na saniach spali woźnice, konie stały spokojne, z łbami obwieszonemi, dalej znowu stał rząd sanek. Poza domem srebrzył się wysoko na niebie jak jasna plama księżyc.

— Co to jest? — myśli Własow — czy to wszystko rzeczywiście dzieje się na ziemi?

Na chwilę otrzeźwiał.

— O Boże! jakie to piękne — mówił cicho — a ja? cóż ja zrobiłem?

Doszły go głosy i tony muzyki, od której uciekł. Uczucie rozpaczy, które tam uczuwał, ścisnęło mu serce jeszcze silniej. Uciekać chciał, uciec ztąd daleko, daleko od miejsca, gdzie to wszystko się stało.

— Cóż ja zrobiłem? stałoż się to rzeczywiście? — pytał się wystraszony.

Stało się! Nie chciał sam temu wierzyć.

— Tak, straciłem wszystko, wszystko; wzięli mi to, co najdroższe, najlepsze na zawsze i nigdy już straconego nie otrzymam z powrotem. Uczucie najgłębszej żałości, żałości dotąd mu nieznanej, żałości gorzkiej, nie do ukojenia, uczucie zupełnej bezradności ogarnęło go.

— Uciec? Dokąd? — rozmyślał smutnie.

Zrozumiał, że wspomnienie tego, co się stało, pozostanie w nim, przemieni duszę jego na zawsze z nim związane i przez całe życie prześladować go będzie. Nie mógł myśleć jasno. Myśli jego burzyły i plątały się pod wpływem wina, rozdrabniały się w słowach bez sensu i w frazesach. Skrzypiące tony walca doszły do jego uszu. Własow chwilę jeszcze stał, poczem skręcił boczną uliczką. Po kilku krokach przystanął i rozglądał się, jak gdyby czego zapomniał.

— Tak, — mówi głośno do siebie, a po raz pierwszy w życiu uczuwa coś, jakby szal

schodzi ze sceny, publiczność przestaje pamiętać o istnieniu tego, któremu zawdzięcza tyle chwil wzniosłych rozkoszy.., U artystów niemieckich da się zauważyć dziwne zjawisko. Otaczają oni zwykle czcią i pieszczotami zgasłe gwiazdy sceniczne. Nazywa się je czule „Papachen“ und „Mamachen“. Będąc niegdyś przedmiotem zazdrości nienawiści, intryg i napaści, spoczywająca dziś na więdnących wawrzynach artystka jest ubóstwianą przez młodszą generacyę, która widzi w weterance obraz swej smutnej przyszłości. Starość, której towarzyszy zanik urody, gasi stopniowo aureolę sławy i wznosi chiński mur pomiędzy publicznością a artystką. Ze smutkiem i złością spostrzega ona po niewczasie, iż zachwycano się nietyle jej sztuką, ile kształtami ciała, że uroda jej była silniejszym magnesem, niż jej talent. Jest więc zrozumiałem, iż jak twierdzą znawcy niemieckich stosunków teatralnych, artystki w sprawach zakulisowych wykazują daleko więcej talentu, niż podczas swych występów. Wskutek konieczności ciągłego znajdowania się na czatach i parowania ciosów ze wszystkich stron, zawód ten staje się nieznośnym dla lepszych charakterów. Jest jednakże jeszcze coś bardziej odstraszającego w stanowisku artystki niemieckiej. Kapłanki Talii i Melpomeny, jak wiadomo, życiem swojem przekraczają przepisy konwencyonalnej obyczajowości. Tego jeszcze nie należy nazywać zdrożnem. Pierś wielkiego artysty rozpierają zwykle namiętności, które znajdują swe ujście nietyle w jego produkcyi scenicznej, ile w jego życiu prywatnem. „Odkąd aktorzy przestali być łobuzami“ — wyraziła się Gossmanowa, obecnie hrabina Prokesch-Osten, tracą prawo do miana artystów. Rozmachy duszy artystycznej nie dadzą się skrępować żadnym hamulcem; istoty artysty nie należy wtłaczać w model, zdjęty ze zwykłego śmiertelnika. Czego opinia publiczna nie przebacza tuzinkowemu człowiekowi, musi jednak być odpuszczonem artyście. Nie w tem więc zgorszenie. Rozpoczyna się ono wtedy dopiero, gdy artystka uprawia swój zawód jako zajęcie poboczne, dodatkowe, gdy zawód jej służy jako reklama dla jej łaknącego miłości i pieniędzy serca. Takie traktowanie rzeczy jest na rękę dyrektorom teatrów niemieckich. Zamiast wypleniać na scenie tego rodzaju objawy, krzewią je z gorliwością godną lepszej sprawy. Znajdują oni dzielnych pomocników w sprawozdawcach gazetowych, którzy wynoszą pod niebiosa suknię artystki X. Pod tym względem scena niemiecka na całym obszarze państwa stała się prawdziwą stajnią Augiasza, którą chyba zdoła oczyścić jakiś Herkules. Wzajemne prześciganie się w tualecie doprowadza do tego, że ta ostatnia staje się pierwszym warunkiem powodzenia artystki. Premiera „zrobi klapę“, gdy artystka nie wystudyuje w magazynie tualety we wszystkich szczegółach. Na przymierzanie sukni odchodzi więcej czasu, niż na wyuczenie się roli. Autor, który nie daje okazyi do efektów tualetowych, nie może liczyć na poparcie w świecie teatralnym. Dyrektor sam cieszy się, gdy artystka olśniewa swym strojem. Nie wydatkuje on na takowy ani jednego fenyga, wie z góry, że artystka, która nie chce wpaść w niełaskę u publiczności, postara się o to, by jej nie zabrakło odpowiednich środków dla swych strojów. „Czy masz pani jaki miłosny stosunek“ — zapytał się z cynicznym spokojem reżyser jednego z teatrów ludowych biednej artystki, która pretendowała do ról pierwszej kochanki, nie odznaczając się jednakże bogactwem toalety. Podczas więc gdy panie niemieckie zabraniają służącym mieć „Schatza“, dyrektorowie teatrów zacierają ręce, gdy ich podwładne mają powodzenie na tem polu. Prywatnego przedsiębiorcę teatru obchodzi jego kasa a nie cnota artystki. Większa artystka nigdy nie jest w stanie utrzymywać się ze swej gaży, którą pobiera tylko „honoris causa“. Scena jest jednak dla przystojnej i niezasypiającej gruszek w popiele artystki o tyle intratną, że wyprowadza ją na pokaz publiczności i daje możność zwerbowania tych, których ojcowie uzbierali grosze dla jej garderoby. Nie należy się więc dziwić, iż w wielu teatrach niemieckich dyrektorowie, reżyserowie i sekretarze sprzedają z licytacyi różne role. Nie koniec na tem. Pomiędzy kontrahentów, dyrektora i artystę, wciska się agent teatralny, kreatura wstrętna i szkodliwa. Musimy w tem miejscu cofnąć się nieco wstecz. Już po r. 1866, gdy zaczyna się upadek teatrów nadwornych, wyrastają jak grzyby po deszczu teatry w miastach prowincyonalnych. Sztuka dramatyczna staje się zawodem i nabiera większego znaczenia, gdyż dyrektorzy dla dogodzenia publiczności starają się o ciągłą zmianę personału. Po r. 1871 teatr niemiecki zaczyna się staczać po pochyłej płaszczyźnie wolności procederu. Zakładanie i kierownictwo teatru stało się, dzięki prawodawstwu, przystępnem dla każdego, kto zyskał koncesyę. Ta zaś była udzielaną nie na jakieś określone terytoryum, lecz na cały obszar państwa. Dyrektor rozkładał swój tabor, gdzie mu się podobało, rzucając na pastwę losu personał przy każdej zmianie miejsca pobytu. Powstała gorączka teatralna, której nie zdołały ostudzić nawet bankructwa dyrektorów, gdyż miejsce tych ostatnich zajęli ich wierzyciele. Ta konkurencya teatrów przyczyniła się wielce do zabagnienia dziedziny sztuki dramatycznej. Agentury teatralne podjęły się dostawy taniego towaru; one też stały się kanałami, przez które spływały do teatru szumowiny społeczne. Teatry zaś zaczęły spekulować na najbrudniejsze instynkty tłumu. W takim świecie musi artystka obracać się i pracować. Zgłosiwszy się do agentury, mało wskura swym talentem, jeżeli nie prześcignie w hojności swojej bogatej hontrahentki, ofiarującej pieniądze swego przyjaciela. Agent, otrzymawszy swoje faktorne, nadsyła dyrektorowi najlichszy towar, gdyż go mało grzeje i chłodzi dobro sztuki. Dyrektor odbija to sobie na pensyi artystek. W ten sposób wszyscy się wzajemnie wyzyskują na conto złotej młodzieży. Jeżeli zaś dyrektor zwęszy, iż jego ofiara posiada wśród „miłośników sztuki“ swych wielbicieli, oznajmia jej pewnego dnia swe zdziwienie, że tak bogata i opływająca w dostatki osoba nie wzdraga się brać od biednego dyrektora marne 25 lub 30 marek tygodniowo. Artystka kwituje wreszcie zupełnie z pensyi, zawód artystyczny daje jej bowiem utrzymanie, a jej protektorowie rozkoszują się myślą, iż ta kobieta, do której strzela oczyma kilkaset osób co wieczór, której wdzięki budzą zachwyt — jest ich prywatną własnością. Nie jest to wszakże jakaś kryjąca się w zmroku dańulka. W świecie teatralnym Niemiec zagnieździł się więc na dobre półświatek. Agenci teatralni są po większej części lichwiarzami, u których w kieszeni siedzą dyrektorowie. Biedna artystka w tej jaskini zwierząt ginie, jeżeli nie posiada wybitnego talentu, dającego jej możność wydostania się na wierzch. Dyrektor bowiem rozporządza wszelkiemi środkami dla wysysania swej ofiary, jak wampir. Jeżeli się zdarzy, że przed przybyciem transportu z żywym towarem, jakaś artystka zdołała sobie zaskarbić łaski publiczności, dyrektor wypycha nowoprzybyłą za drzwi. Jeden bowiem z paragrafów umowy głosi, iż dyrektor ma prawo oceny w kwestyi zdolności artysty; gdy ten okazuje się pozbawionym odpowiednich kwalifikacyi, dyrektor może go się pozbyć, zapłaciwszy tylko jedną czwartą miesięcznej pensyi. Teatr z przybytku sztuki staje się giełdą. Nie jest to tajemnicą, że agentury teatralne sortują swój towar odpowiednio do ciała i stanu majątkowego. Także smutne koleje musi przechodzić aspirantka do zawodu artystycznego, która z czystą duszą i świadomością swego honoru wstępuje na deski teatralne. Tęczowe nadzieje pierzchają; jedno złudzenie za drugiem pryska i wreszcie znękana, zbolała, staje przed murem wyzysku i prostytucyi, którego nie przebije nigdy swoją głową. Gromkie frazesy o doniosłem posłannictwie sztuki dramatycznej okazują się wtedy mistyfikacyą i blagą. Ten sam charakter handlowy noszą szkoły dramatyczne i t. zw. akademie dramatyczne. Przedsiębiorstwa tego rodzaju mają na celu przedewszystkiem znaczne

---

się zbliżał. — Tak! „gołąbeńku“ — mówiła... — jak pożałowania godni są tam wszyscy, a księżyc jaki piękny...

Własow zdjął nagle kapelusz i przeżegnał się kilka razy.

— O Boże, dopomóż mi, zbaw mię. — mówi szeptem — dopomóż...

Na ulicy było cicho, oświetlona była jednak niezwykle. Oprócz latarni paliły się przed zajezdnemi bramami „instytutów“ kolorowe latarnie, z okien wesołych „domów“ jasne biały światła.

Dwóch studentów i jakiś pan w szarej czapce przejeżdżało około niego sankami; śpiewali jakąś sprosną piosenkę. Z domu, koło którego Własow stanął, wychodził oficer, mrucząc pod nosem i wywijając ręką. Gdzieś w dali słychać krzyk dzikiej rozpaczy. Jakaś atmosfera tajemnicza przepełniała życie nocne tej ulicy. Pijacy wrzeszczą, a okna oświecone nie tają tego, co się tam dzieje.

— Nie spieszcie się, wrócisz na czas — powtarza Własow słowa odźwiernego — nie, nie wrócę na czas!

Nagle przypomniał mu się frazes Iwańskiego: „niema alchemii politycznej“, — tak jest, niema jej rzeczywiście.

Własow przeląkł się sam. Co się z nim dzieje? Czy on oszalał? Zarzucił płaszcz na głowę, ściskał go mocno rękoma i biegł, jakby go kto gonił. Na rogu jednej z ulic roztrącił stróża i byłby sam upadł.

Teraz dopiero spostrzegł, iż pozostawił tam kalosze.

— Nie padnij, nie padnij — woła za nim dobrodusznie stróż.

— Zapomniałem kaloszy, zgubiłem je, kosztowały trzy ruble — mówi Własow — ale niech tam! Na co one mi teraz potrzebne? Nie potrzebuję niczego, niczego.

Spojrzał na stróża, nagle zawstydził się, patrząc w oczy innemu człowiekowi, jak gdyby wszyscy wiedzieli, nawet stróż. co on uczynił.

Gdyby się teraz była przed nim otworzyła przepaść, byłby wskoczył bez namysłu do niej, aby się przed ludźmi ukryć, przed całym światem.

Pobiegł i jedna tylko myśl w nim nurtowała: stracony na wieki i zmarnowany! męczyła go i uderzała w niego, coraz więcej go drażniąc.

Jakżeż się to stało? Jakżeż on mógł dopuścić do tego. Na to pytanie nie znalazł odpowiedzi. Stracił wszystko, wszystko...

Tę tylko miał świadomość. Własow pędził jak opętany przez ulice i uliczki; wytchnął i szedł wolniej. Gdy wypoczął, pędził znowu w kierunku swego mieszkania.

Czuł, że jest oszołomiony, nieszczęśliwy, stracony na zawsze. Stanął przed domem. Gdy wszedł do pokoju nie zapalił lampy, lecz rozebrał się prędko i schował się pod kołdrą. Leżał bez ruchu a twarz ukrył w poduszkach.

Zaczął rozmyślać, chciał wymyślić coś jasnego, pochwytnego — lecz szeptał tylko — Boże mój, ratuj mnie, wybaw mnie, mój Boże — a potem ogarnął go sen ołowiany.

VI.

Na drugi dzień obudził się Własow dopiero około południa. Otworzył oczy, rozejrzał się w około siebie, wejrzał w głąb swej duszy i nie poznał ani otoczenia, ani siebie. Zamiast swobody, jaką zwykle uczuwał, gdy się obudził, uczuł ciężar na duszy, który mu życie uprzykrzał. W ustach miał gorzki wstrętny smak, głowa zdawała mu się ciężka jak z ołowiu. Naraz obudziły się wspomnienia z dnia wczorajszego. Wszystkie szczegóły stanęły mu przed oczyma.

Lecz nie opanował go ani przestrach wczorajszy ani rozpacz, obojętnym był na wszystko, przemęczonym. Począł dumać, próbował znowu wyrzekać owemi słowy: „stracony, wzięli mi wszystko!“ lecz spostrzegł, że nie robi to na nim wrażenia. Nie odczuwał ani współczucia dla siebie, ani obawy, ani żalu. Stan jego był stanem zupełnej duchowej apatyi.

Teatr — ciągnie się wątek jego myśli dalej — następnie wódka, trójka, potem owa

zyski, muszą podporządkowywać interesy sceny i sztuki apetytowi swojej kieszeni. W takim razie starają się o możliwie największą ilość uczniów, nie dbając o to, że duża liczba staje w tym wypadku na przeszkodzie jakości ich wykształcenia. Rolę kierowników biorą na siebie najczęściej zapoznani przez świat geniusze artystyczni, którzy potrafią swym wychowańcom zaszczepić zarazek najgorszej rutyny, lecz nigdy nie obudzą do życia drzemiących w nim sił i talentu. Często są to nawet wykolejeni dyrektorowie teatrów, nieznający się na sztuce i wytwarzający tylko pozbawiony odpowiednich zdolności proletaryat artystyczny, szkodliwy o tyle, że obniża wysokość płacy w tym zawodzie.

H. F.



Wrażenia z Cieszyna.

I.

Kiedym dość nałykał się już kurzu wielkomiejskiego, zapragnąłem świeżem odetchnąć powietrzem. Wyruszyłem tedy do księstwa Cieszyńskiego i Galicyi, aby przy jednym ogniu dwie upiec pieczenie — odpocząć i przyjrzeć się okolicom górzystym, stosunkom i ludziom. Dziś zaś zamierzam wypowiedzieć słów kilka o tem, co widziałem.

Księstwo Cieszyńskie było pierwszym moim przystankiem. Przejeżdżałem przez okręg ostrowsko-karwiński, ściśle przemysłowy i w płody górskie bogaty. Ale i pola żyzne, dobrze uprawne, budynki bardzo porządne, mnóstwo sporych sadów, otaczających murowane chałupy wiejskie, nęciły oko i pocieszały mnie tem, że chociaż lud ten w całej pełni uczuć narodowych do nas jeszcze nie należy, ale za to względnie zamożnym nazwać go można. A lud zamożny, którego charakter nie został jeszcze skrzywionym, to ogromna bryła złota. A lud ten do tego w znacznej części czyta i pisze, i to wszystko razem jest lud polski. Czyta, pisze i złoto posiada — i to „nasz“ lud — prawda, że to coś nieznanego, przynajmniej w państwie austryackiem.

Przyjeżdżam wreszcie do Cieszyna, mając przekonanie, urobione z książek, że po polsku rozmówić się tam trudno. Ale to są bajki wierutne. Nie znalazłem ani jednego miejsca, gdziebym się nie mógł rozmówić po polsku. Wstępowałem tu i owdzie do sklepów, byłem nawet na poczcie, ale i tu odpowiadali mi po polsku. Najgorzej względnie szło w jadłodajniach i kawiarniach, choć i tu znajdzie się zawsze choć jeden kelner mówiący po polsku.

Cieszyn, miasto liczące tylko z górą 17 tysięcy, nie może mieć wielkiego ruchu, a zresztą ludzie są w pracy, więc w dzień powszedni mało ich tu spotykałem. Za to w niedzielę, zwłaszcza z rana, zgiełk wielki. Wszystko co żyje spieszy do kościoła. Okoliczni mieszkańcy wiejscy przychodzą też do Cieszyna. W dzień tedy świąteczny można się przyjrzeć ludowi. Przyjemnie popatrzeć nań, zwłaszcza gdy w kościele zanosi modły do niebios. Nie spotykamy tu żadnych krzyków, żadnych gwałtownych zgięć i pokłonów. Na obliczu maluje się spokój, pogoda, — modlitwa czy śpiewy płyną poważnie, — znać, że ludzie przejęci, — oni modlą się, rozumiejąc co czynią. Od czasu do czasu wzniosą oko; na ustach czujesz lekkie westchnienie, i znów oko spoczywa na ogromnych rozmiarów książce, oko, z którego spoziera dobroć i łagodność.

Na ulicy rozmawiam z tym i owym, wszędzie taż łagodność, miękkość, wszędzie uprzejmość, wskazują mi wszystko, o co proszę, — nie byle zbyć, ale dokładnie. Przytem zazwyczaj popatrzą na mnie uważnie, ja im objaśniam zkąd jestem, pocom przyjechał, że chciałem zobaczyć, jak się mają moi rodacy na tym krańcu Polski. Nie powiem, abym w ich obliczu widział zupełne zrozumienie, że ja z pod panowania rosyjskiego mogę być tem samem, co i oni. Ale widoczne było, że musiano im o tem już mówić, bo kiwali głową: „To pan z daleka! no! i żeby nas zobaczyć?!“ I zdało mi się, że przyjmowali poniekąd za możliwe, iż jestem kimś im blizkim. Zawsze wspólność mowy robi swoje. Czujemy się wówczas niejako spokrewnieni.

Przyznam się, że oglądanie i rozmowa z ludem w Cieszynie była dla mnie najprzyjemniejszą, ale żal, że z przyjemnych jedyną prawie chwilą. No, nie, nie tak źle! Boć miło mi było, gdym się mógł prawie wszędzie rozmówić po polsku, a jeszcze i to, że szyldy wystawowe są w znacznej części w języku polskim i niemieckim; rzadko tylko w samym niemieckim, o wiele rzadziej t. j. prawie wcale, w języku czeskim i niemieckim.

Ale za to napisy ulic wszystkie po niemiecku. Napisy te jednak są tylko jedną z szeregu nieprzyjemności, jakiemi Cieszyn mnie karmił.

Bo proszę mi powiedzieć, dla czego n. p. czytelnia ludowa, mająca wcale sporą bibliateczkę, wiedzie żywot suchotnika. Czytelnia ludowa na kresach wykazuje ruchu rocznego 1800 książek, wypożyczanych ludowi. To wstyd i niedołęztwo! Do 7000 Polaków z Cieszyna i okoliczni mieszkańcy tak mało użytkują książek! Czyżby ci ludzie nie mieli pociągu do czytania, czyżby nie rozumieli potrzeby oświaty? Ale dziś, kiedy tak wielka liczba młodzieży została zapisaną do gimnazyum cieszyńskiego, podobnego wniosku nie można wyprowadzić. Prostsze tłomaczenie: obojętność lub niedołęztwo. Był np. czas, kiedy istniejące przy Towarzystwie dobroczynności w Warszawie czytelnie nie cieszyły się zupełnie ruchem. Ale czyż winą temu byli czytelnicy? nie! W przeciągu bowiem dwóch lat jedna z panien podniosła ilość wypożyczanych książek z 800 na 30 tysięcy, a inne z dwóch na 20 tysięcy. A więc chęć ku czytaniu znalazła się. Ale te szlachetne osoby poświęcały się swej robocie z zapałem. One starały się poznać upodobania czytelników dobierały im książki, nie żałowały czasu, aby udzielać objaśnień, choć w krótkości, o ile tego zachodziła potrzeba. One prowadziły swoich czytelników, one ich kształciły stopniowo. A nie dawały im nigdy pierwszego lepszego klitusbajdusia. A co się dzieje w cieszyńskiej czytelni ludowej? Książki w wielkiej ilości kąpią się bez porządku w kurzu i pleśni, nie czytane i niewidziane. A lud, czy zawsze dostaje odpowiednie książki? Zbyt dużo tam klerykalizmu! Same religijno-moralne lub ciepłokluskowe książki nie wybawią mózgów z gęstego zmroku. Beletrystyka też nie jest najpożywniejszym dla umysłów pokarmem, chyba, że dobrze dobrana. Prócz tego zdaje mi się, że czytelnia kuleje nieco odnośnie ilości poważniejszych książeczek ludowych. A dalej, czy pisma znajdujące się w czytelni są odpowiedniemi, czy mogą służyć za posilną dla mieszkańców Cieszyna strawę? Mojem zdaniem nie! Znalazłem wprawdzie sporą liczbę pism codziennych, nawet względnie postępowszych i trochę popularnych ludowych tygodników, między niemi i „Gazetę Świąteczną“ z Warszawy. Ale i tu za dużo klerykalizmu! Ale i tu rzeczy zupełnie niepotrzebne, jak, o ile mnie pamięć nie zawodzi, „Przegląd“ p. Masłowskiego ze Lwowa i „Krakus“. Mniemam, że pożądańszem byłby jaki tygodnik poważniejszy lub nawet miesięcznik. Kto wie, może ten lub ów przejrzałby rychlej i więcej wyniósł korzyści, przeczytawszy jeden artykuł z miesięcznika, niż gdy pochłonie 10 pisemek codziennych. A przecież myślę, są w Cieszynie tacy, którzy poważniejszych spragnieni są rzeczy. Ja sam poznałem kilku młodszych ludzi, chętnych do tego. A zresztą mniej chętnych mogliby pobudzić ciekawsi.

„Rumunia“, książę, szampan. Tak, a potem zajechali przed restauracyą, uczęstowali woźniców a potem pojechali „tam“. Jak to wszystko gładko poszło. Przypomniała mu się jego wczorajsza odwaga. Zachciało mu się odegrać rolę zucha, być przywódcą towarzystwa, nietylko brać udział w szaleństwach, lecz przodować w nich. Tej strony swego charakteru dotąd nie znał.

Dziwił się nad dzisiejszą obojętnością, wobec tego, co wczoraj popełnił. Wczoraj zupełnie inaczej myślał.

— Nie lepiej znowu usnąć? — pytał się przymykając oczy.

Zamiast tego podniósł się na łóżku i objął rękoma kolana. Twarz miał zapadłą, bladą, wyraz jej był melancholijny, oczy jego zamgliły się i zapadły. Spojrzał na Iwańskiego, śpiącego z otwartemi usty.

— Co za wstrętna twarz! — pomyślał Własow.

Spojrzał przez okno, przez którego szyby przeświecało jasne słońce. W pokoju te same były przedmioty, jak wczoraj, szkielet, książki, czaszka.

— Jakie to wszystko nudne — nikt tego nie potrzebuje i na nic się to nikomu nie zda! Jaki nieprzyjemny odór z tych obrzydliwych kości!

Własow opuścił głowę w zadumie. Na nogach jego rozpostarta była kołdra, do której się tak przywiązał.

— O, gdyby ona o tem wiedziała! — przypomniała mu się matka. Może się rozchoruję, przyszło mu na myśl. Dobrze, bardzo dobrze. Jakaś kara powinna mię spotkać.

Myśl owa nasunęła nowe refleksye.

— Tak to więc człowiek rozpatruje się w sobie. Pogardzasz sobą, taki jesteś zrozpaczony, że nawet choroby pragniesz, jako karę za słabość i sprosność.

Smutno mu było.

— A żyć przecież trzeba — snuł dalej wątek myśli, budząc się z apatyi — tak, trzeba żyć dalej.

Spojrzał na rękę. Wydawała woń, jaką ów dom był przepełniony, jaka biła od owych kobiet. Własow chciał wstać i umyć się. Nie ruszył się jednak z miejsca, ręką tylko przeczesał włosy.

Wszedł Zajączek przynosił buty i ubrania.

— Dzień dobry — mówi dobrodusznie — piękny dzień dzisiaj, marznie, blizko 20 stopni.

Własow spojrzał na niego obojętnie i nic nie odpowiedział.

— Wielmożny pan dzisiaj taki smutny — pyta Zajączek, zatrzymując się przy drzwiach. — Wczoraj taki wesół, a dzisiaj... o, to nie dobrze.

Własow uśmiechnął się i nic nie odrzekł.

Zajączek spiesznie opuścił pokój.

— Wczoraj wesół, dzisiaj smutny, — powtarza Własow — o wierzę, wierzę.

Wystawiał sobie jakim był i jakim jest teraz. Przypomniał sobie wczorajsze rano, nagle miał ochotę zapłakać.

— „Stracony, wzięli mi wszystko“ — znowu odzywało się w nim, jak wczoraj, gorzko i boleśnie.

— Boże mój, dopomóż mi, wybaw mię.

Własow wyszedł z łóżka i zbliżył się do okna. Przyłożył głowę do zimnej szyby i patrzył na ulicę.

Piekarz przechodził ulicą; zapalił papierosa. Własow obserwował. Wzbudziła się w nim ochota do palenia. Podszedł do stołu, wziął papierosa z Iwańskiego papierośnicy i zaczął się chciwie zaciągać. Zdawało mu się, iż sprawia mu to ulgę.

— Co tam robisz? — odzywa się Iwański, który wbrew zwyczajowi bez mruczenia powstał.

— Palę, jak widzisz.

— Aha! — odpowiedział Iwański.

Własowa zadziwił odcień jego głosu.

Iwański musiał już dawno nie spać, może po cichu nad czem rozmyślał.

— Dawno już nie śpisz? — spytał Iwański.

— Nie dawno.

Własow znowu poszedł do okna.

A czy jest w czytelni jaki inny ruch? Nie wiem! To jest wiem tyle, że wogóle panuje tam cisza.

Jak żywo mi puls zatętnił, gdym ujrzał dom ozdobiony ogromnemi głoskami złoconemi „Bazar cieszyński“. No, panowie szlachta, powiadam, wiedźcie mnie w jego progi. Przypatrz się pan napisowi, mówią, bo to jedno, co z niego pozostało. Bazar był, ale się zmył, jak mówi przysłowie. Jak nasi bracia poczęli go wyzyskiwać, tak biedak wyzionął ducha.

No, a czy nie macie jakiego stowarzyszenia spożywczego? Nie dostałem żadnej odpowiedzi. Ale panom rzemieślnikom pewnie tu dość ciężko idzie z pożyczką? Czy też nie macie jakiejś kasy pożyczkowej, może bezprocentowej, któraby pozwalała rzemieślnikom w razie bankructwa podnieść się o ile można najrychlej? Tak, to przydałoby się — odpowiedziano mi.

Ale porzuciłem tak wzniosłe zapytania i z utopijnej rozmowy przeszedłem do najprozaiczniejszej pod słońcem, mianowicie spytałem, gdzie tu można zjeść obiad w polskiej jadłodajni. I tego niema. Jest w Cieszynie garstka Polaków, która stołuje się w restauracyi czeskiej, a nawet w niemieckiej! Wogóle jadłodajnie i kawiarnie, o ile zauważyłem są w rękach Czechów, którzy między innemi są w znacznej części urzędnikami jak n. p. poczty. (Czechów w Cieszynie jest najwyżej 600.) A jaka różnorodność polskich pism w owych garkuchniach. W jednej znalazłem dziennikarstwo nasze reprezentowane przez „Przegląd“ Masłowskiego — i tyle — a przecież Polacy tam chodzą! W innem miejscu znalazłem znów tylko „Gwiazdkę Cieszyńską“.

Czy „Gwiazdka Cieszyńska“ jest pismem wystarczającem dla rozwoju polskości i pojęć wogóle, czy zajmuje się zadawalająco choćby rzeczami miejscowemi? Mniemam, że żadnemu z tych warunków dostatecznie nie odpowiada. Pismo czeskie „Czeskie Nowiny“ o wiele dokładniej informują o tem, co się dzieje w Księstwie i obfitsze podają rady i wskazówki. A zresztą „Gwiazdka Cieszyńska“ nietylko w treść jest ubogą, lecz przytem często za mglistą — niedopowiada, jest zanadto, jak mówią, skrępowaną względami zakulisowemi i boleć tylko trzeba, że wydawcy znajdują poważne przeszkody w pracy nad ulepszeniem pisma. Bo tak, jak jest, „Gwiazdka“, wcale nie wystarcza. Pismo to, jeśli chce pracować z korzyścią, musi drew dołożyć do ognia swojego i iść w duchu swobodniejszym, pewniejszym; musi być ruchliwszem i treściwszem, a zwłaszcza mniej służalczem a więcej samodzielnem w stosunku do kleru. Czy się jednak „Gwiazdka“ rychło przemieni? przerobi? Wątpimy. Czekać nie można! Tu trzeba jakiejś nowej siły energicznej, która poczęłaby wydawać nowe pismo, a możnaby spróbować, zamiast tygodnika redagować dziennik, który w cieszyńskich stosunkach nader jest pożądanym.

Mówię wyłącznie tylko o „Gwiazdce“, bo to jedyne pismo ogólniejsze, a w Cieszynie o takie zwłaszcza chodzi.

Warszawianin.

JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

W obecnej chwili odbywa się wystawa polskiej sztuki i przemysłu we Lwowie. Rząd zabronił stanowczo, by ktokolwiek ztąd w niej udział przyjmował (niemniej, w niektórych wypadkach potrafiono obejść to postanowienie). Nasunęła się przytem kwestya, czy pisma tutejsze mają prawo wspominać o tej wystawie. W pierwszym miesiącu jej istnienia było to bezwarunkowo wzbronionem, później dano znać kierownikom pism, iż dozwala się każdemu z nich umieścić cztery korespondencye ze Lwowa w odstępach dwutygodniowych. Korespondencye te, nie mające pod żadnym warunkiem przenosić stu wierszy druku, uwzględniać miały tylko przemysłowy dział wystawy, o sztuce nie wolno było wspominać ani słowa. Redaktor N. opowiadał nam, iż zeszłej zimy wzywanym był do oberpolicmajstra, który głosem drżącym od tłumionego gniewu i oburzenia spytał go, co mają znaczyć litery J. C. M., umieszczone w jednym ustępie jego rękopisu. Naturalnie Jego Cesarska Mość — przecież to jest przyjęte skrócenie. — Aha! to pan ośmielasz się skracać tytuł najjaśniejszego Pana, nie masz pan dość miejsca w swem piśmie na jego całość... w takim razie możesz pan być pewnym, że *On* znajdzie dla pana miejsce, w którem nie wiem, czy się panu podoba przebywać, tymczasem za sam zamiar ten masz pan zapłacić 600 rs. kary.

Widziałem na własne oczy w Warszawie rażące przykłady brutalności policyjnej władzy. Przy lada sposobności policyanci uderzają i potrącają pochwą od szabli biednych dorożkarzy, którzy ze swemi numerami na plecach robią już i tak wrażenie niewolników. Tu na wsi w postępowaniu z włościaninem władze rozumieją tylko gwałt i nacisk. W szkołach wiejskich językiem wykładowym jest rosyjski, którego chłopi nie rozumieją, ale ponieważ uczęszczanie do nich nie jest obowiązującem, bardzo nieliczna garstka dzieci się uczy. W sądzie używanym jest też wyłącznie język rosyjski, w sprawach więc kryminalnych oskarżony nie ma nawet możności skontrolowania dokładności swych zeznań. Całą działalnością ze strony rządu na korzyść chłopa jest usiłowanie podburzania go przeciw zamożniejszej klasie i przyznawanie mu racyi we wszelkich sądowych zatargach z jej przedstawicielami. Jeden z tutejszych obywateli dopilnował wraz ze swym leśniczym czterech złodziei zwierzyny i złapał ich właśnie w chwili, gdy zdobycz swą ładowali na wóz. Złodzieje uciekli, ale właścicielowi udało się schwycić zwierzchnie okrycie jednego z nich dla przedstawienia go w sądzie jako dowód. Winowajców uwolniono, gdyż wobec tego, że przeczyli temu stanowczo, nie uznano za dostatecznie udowodnione, iż zwierzyna, znajdująca się na wozie, była własnością wyżej wymienionego obywatela. On zaś ponownie został wezwany do sądu i skazany na trzy miesiące aresztu za *samowolne przywłaszczenie sobie ubrania.* W ten to sposób rządzi tu sprawiedliwość, a za jedyną pociechę uważać można to, że jakkolwiek jest bardzo źle, nic nie stoi na przeszkodzie, by nie było gorzej; cieszą się ludziska, że to gorsze jeszcze nie nadeszło. Znaną jest i przysłowiową polska rezygnacya: jakiś człowiek podniósł głowę w chwili, gdy przelatująca nad nim jaskółka upuściła coś, co mu wprost na twarz upadło: „Co za szczęście, że krowa nie ma skrzydeł“ zawołał tylko.

Polacy są dziwnie niespożyci w swem nieszczęściu. Żyje się tu, jak żyje amputowany, który jest oczywistym dowodem, iż można się obejść bez ramienia, nogi, oka, a przecież być zawsze człowiekiem i członkiem społeczeństwa. Odcięci najkompletniej od wszelkiego życia politycznego, jako też pracy w kierunku rozwiązania zagadnień socyalnych, nie mogąc dążyć bezpośrednio do narodowych celów, tem intenzywniej żyją tu tem, co im pozostało. Podobni są do owego Joziasza Rantzau, który utraciwszy tyle, zachowywał niezmiennie humor swój i energię. Czują i myślą całą pełnią serca i duszy, jak i gdzieindziej, a z ust do ust przechodzi to, czego napisać lub wydrukować nie wolno.

W tej chwili niebo jest pogodne i jasne, a widok, jaki przez siatkę okna przedstawia się oczom moim, pełen cichego i spokojnego uroku. Bliżej trawnik, usiany wysoko rosnącemi różami, jaskrawem kwieciem pelargonii, wśród nich oryginalnym efektem odbija jakiś białolistny krzaczek, na dalszym planie grupują się stare, wspaniałe drzewa parku, otaczające poważnie półkolem tę pełną słońca i barwy płaszczyznę. Powóz zaprzężony czwórką koni oczekuje na nas przed bramą. Tak, życie jest pięknem, dopóki trwa! Mérimée miał zwyczaj wyrażać w ten sposób swój pogląd na życie: Arlekin wypadł z okna piątego piętra, a gdy przelatywał około trzeciego, spytał go ktoś, jak się czuje: nieźle, odrzekł, byleby tak trwało“. Wiemy wszyscy, jakiem będzie zakończenie i upadek, ale dopóki jesteśmy w powietrzu, czujemy się nieźle. Jeżeli ten list mój dojdzie waszej gazety, dowiedzą się ci, co pisywali do mnie, dla czego nie otrzymali dotąd na swe listy odpowiedzi.

II.

Około godziny 7-mej wieczorem, gdy upał przestaje być dokuczliwym, całe towarzystwo opuszcza swoje pokoje; ten jedzie sobie konno, owi spacerują po polach, inni wreszcie, starsi, zadawalają się małą przechadzką po ogrodzie. Dziś, gdy nasz gospodarz zeskoczył z konia u trawnika przed werandą, a panna Zofia po długiej rozmowie w ogrodzie, w której przyszłość ludzkości i związane z nią kwestye miłości, religii i moralności traktowane były wyczerpująco, znalazła się także w pośród nas, podałem pani domu świeży zeszyt *Revue de Paris,* z prośbą o przegranie i zaśpiewanie nam głównego ustępu hymnu do Apollina (muzyka i tekst), znalezionego w Delfach, który tam był przedrukowany. Zaczęła śpiewać i naraz zawo-

---

Stał boso i w koszuli na zimnej podłodze, zaczął drżeć z zimna. Lecz dreszcze te sprawiały mu przyjemność.

Iwański zapalił także papierosa.

— No, pewno jesteś smutny? — zapytał po chwili miękko.

Własow nie odrzekł nic.

— Żal ci? – zaczął Iwański poważnie, — nic nie szkodzi, duszko; wszyscy to samo przechodzimy. Nie zważaj na to, już ci tego nikt nie wróci.

Własow jeszcze ciągle milczał. Nagle wstrząsnął się całem i szlochał, tak szlochał, jakby w nim struny serdeczne pękały. Szlochał jak małe dziecko.

— Dobrze ci mówić, że nikt mi tego nie wróci. — wybuchnął wśród łez. — Łatwo ci mówić, zapomniałeś jak trudno jest tracić, tracić najdroższe, naj....

Zajęknął się i zwrócił swą dobrą, otwartą twarz na Iwańskiego.

— Nigdy sobie tego nie daruję, — dodał, z trudnością wydobywając słowa. — I czemuż ja to zrobiłem, czemu? O! to okropne — na zawsze, na wieki.

Zamilkł, opuszczając głowę, jak gdyby się zadumał. Nagle rzucił się na łóżko, położył się plecami do góry i zagrzebał twarz w poduszkach. Całe ciało jego drgało konwulsyjnie i podnosiło się od głuchego szlochania.

— Przestań, przestań, — szepnął Iwański cicho, a głos jego drżał.

Chwil kilka milczeli obydwaj.

— Piotrusiu! słuchaj — mówi Iwański, unosząc się na łóżku i podchodząc do łkającego Własowa, – przebacz mi. Na miłość Boga, proszę cię, wybacz mi, — ja sam wszystkiemu jestem winien.

Pieszczotliwie położył dużą dłoń swoją na ramię Własowa. Począł mrugać oczyma.

— Gdybym nie był się upił, bylibyśmy wrócili do domu, tak jak ty chciałeś.

— Ależ nie — mówi Własow z pod kołdry — to nie o to chodzi. Ty nie jesteś winien, doprawdy, nie! Ja sam wszystko zrobiłem. Ja sam... a potem... Ja sam nie wiem doprawdy!

I szlochał jeszcze rozpaczniej.

Iwański poszedł do stołu i usiadł na krześle. Niezręcznym ruchem otarł łzę, która mu spływała na lica, i dziwnie go drażniła.

— Biedny chłopcze, — szeptał cicho do siebie. — A ja? Jaki ja podły łotr... jaki słaby jestem...

— Najdroższe stracone na zawsze, na wieki — powtórzył raz jeszcze Własow, łkając prawie jak dziecko.

KONIEC.

łała z podziwieniem: „Ależ to Wagner, najczystszy Wagner!“ Pokazałem jej wtedy, że ta muzyka toż samo wrażenie zrobiła na francuzkim uczonym, który znalazł tę cenną pamiątkę i zaczęliśmy zastanawiać się nad tem, jak wielką chwałę przynosi Wagnerowi odkrycie, że w tych wieki całe spoczywających pod ziemią melodyach starożytnej, cudnej krainy sztuki i piękna, znajduje się uderzające podobieństwo do jego utworów. Gdyby Nietsche dożył tej chwili, zrobiłoby to na nim silne wrażenie i pozbawiło jego krytykę Wagnera głównej i najżywotniejszej jej podstawy, trudno bowiem nazwać dekadencyą sztuki objawy jej w Grecyi w V w. przed Chr. Ze starogreckiej muzyki przeszła rozmowa na starogreckie ozdabianie waz i wyrobów glinianych, pokazałem towarzystwu reprodukcyę znakomitego i prześlicznego rysunku, który przedstawia Eosa niosącego trupa swego syna. Jest to najdokładniejsze wcielenie późniejszego chrześciańskiego pojęcia Mater dolorosa. Podziwialiśmy, widząc na jednej z starych waz Satyra z nogą drewnianą, jak daleko posuniętą była w starożytności sztuka amputowania członków i zastępowania ich sztucznemi, aż wreszcie opuściliśmy Grecyę dla Polski, starożytne malowidła dla fresków na suficie i ścianach salonu, pędzla Wywiórskiego: przestały nas zajmować nieszczęścia i troski Grecyi, albowiem przyszły na myśl bardziej dotkliwe, bo nowoczesne. Cholera rozpanoszyła się na dobre w okolicy, panuje wszędzie w poblizkich miasteczkach, a na dziesięciu chorych umiera średnio pięciu. Niefortunnem jest, iż tak dużo bywa odpustów w tym miesiącu, za tydzień właśnie wypada w tutejszym kościółku uroczystość, którą nazywają odpustem. Jest to powód do zgromadzenia się setek i tysięcy włościan, którzy piją i bawią się jak mogą. W średnich wiekach miało to jakieśkolwiek znaczenie. Wówczas Kościół nakładał na grzeszników ciężkie kary, jak n. p. niejedzenie mięsa przez pięć lat, noszenie włosiennicy i t. p., gdy więc co jakiś czas naznaczano odpust ogólny, który od tych kar uwalniał, obchodzono go uroczyście i przyjmowano z objawami szalonej radości. Dziś kary i ćwiczenia cielesne są zaniechane, a pozostały tylko jarmarki i zabawy ludu, połączone z pijaństwem i hulatyką. W obecnych okolicznościach przedstawia to nawet pewne niebezpieczeństwo: zgromadzeni włościanie zajadają się owocami i wypijają niezliczoną moc butelek piwa. Zwróciliśmy się do księdza z prośbą o napisanie do arcybiskupa, by zechciał odłożyć tę uroczystość do nieokreślonego czasu, lecz gdy podobne odezwanie się sąsiedniej parafii zostało przezeń odrzuconem, małą możemy mieć nadzieję, by nasze starania jakikolwiek skutek odniosły.

W przeszłym tygodniu odwiedzałem Warszawę i byłem przyjęty przez Jego Ekscelencyę p. Jankulio, prezesa warszawskiej cenzury, pięknego mężczyznę o oryginalnym typie, gdyż zmieszana krew żydowska, grecka i rosyjska płynie w jego żyłach. W blizkim jest on stosunku do rodziny Hurki, był przez czas jakiś sekretarzem jenerał-gubernatora i szybko zrobił karyerę. Przyjął mię grzecznie, zapewniał, iż nie zatrzymują mojej korespondencyi w cenzurze, chociażby dla tego, że nie rozumieją tu języka duńskiego, i że nadal otrzymywać będę wszystko bez najmniejszej zwłoki. Niemniej przeto dziś, 12-go sierpnia zaledwie doszedł mię numer „Politiken“ z 31-go lipca, ze stemplem centralnego komitetu cenzury. Jego Ekscelencya, pomimo, iż kazał wzywać przy mnie kilku swych podwładnych dla zdania sobie raportu, musi być źle poinformowanym co do tego, co się we własnych jego biurach dzieje. Urzędnicy tutejsi, nie znający języka duńskiego, odsyłają wszystko wprost do Petersburga, gdzie zawsze w zarządzie cenzury jest dość Finlandczyków, mogących go zrozumieć. Najmniejszego nie ma względu na wygodę czytelnika, gdy idzie o nadzór zagranicznej prasy. Wstępne artykuły w całości powycinano, we francuzkiej, świeżo otrzymanej „Revue“ brak artykułu o anarchizmie, wszystko, co tylko ze względów politycznych, religijnych lub moralnych nie zyskuje uznania, bywa tak zaczernionem, że nie można dojrzeć ani litery.

Nie da się zaprzeczyć, że Rosyanie potrafią rządzić umiejętnie. Machina rządowa działa nieustannie z rzadką ścisłością i dokładnością, bez najlżejszego hałasu, w ciszy, powiedziałbym, śmiertelnej, tak, że jej się wcale nie dostrzega. Dawno minęły czasy, gdy sprawy polityczne zwracały ogólną uwagę i miały pewien rozgłos, dziś postępuje się zupełnie inaczej i trzeba przyznać, dużo racyonalniej i skuteczniej. Pewnego poranku, bardzo wcześnie, zjawia się dwóch ugrzecznionych żandarmów w mieszkaniu człowieka podejrzanego, po dokonaniu rewizyi zabierają go z sobą do powozu i od tej pory „ni vu, ni su“. Niepodobna dowiedzieć się czegobądź o nim, dopóki sam nie powróci, notabene jeżeli wróci! W najbliższem sąsiedztwie zaaresztowano młodą, dwudziestoletnią panienkę. Na rozpaczliwe pytania rodziców „za co? dla czego?“ nie dano żadnej odpowiedzi. Żandarmi mieli tylko rozkaz aresztowania, nie wiedzieli o niczem. Kazano więc zaprzągać konie i nieszczęśliwi rodzice wpadli do Warszawy, o mało że nie jednocześnie z tamtym powozem; udali się do władz, od których dowiedzieli się tylko, że ich córki już nie ma w Warszawie. Po upływie pół roku wróciła sama z petropawlowskiej twierdzy w Petersburgu. Kuzyn jej był aresztowany poprzednio za posiadanie znacznej liczby niedozwolonych książek. Na zapytanie, zkąd miał każdą z nich, odmawiał stanowczo odpowiedzi, lecz nieustanne budzenie w nocy, prześladowanie go tem pytaniem i stosowanie innych wypróbowanych w tym celu środków, zmusiło go w końcu do przyznania się, iż jedną miał od swej kuzynki. Ponieważ nie okazało się nic więcej przeciwko niej, wypuszczono ją tym razem na wolność, lecz w tym roku, gdy nierozsądna i smutna w swych skutkach żałobna procesya, złożona z młodych ludzi i dziewcząt, przeszła po ulicach Warszawy, święcąc stuletnią rocznicę wybuchu powstania 1794 r., została ponownie złapaną jako przyjmująca w niej udział. Nie udał się fortel, za pomocą którego młodzież dała sobie znać o postanowionej demonstracyi. Ogłoszenie było mniej więcej tej treści: Zmarła N. N. (wymyślone nazwisko), kobieta wielkich cnót i zalet. Niewypowiedzianie ukochaną była przez pozostałe w nieutulonym żalu dzieci, które żyją tylko myślą o niej i o jej zmartwychwstaniu. Wszyscy, co ją znali i kochali, mają się zebrać tego a tego dnia o oznaczonej godzinie, by oddać cześć jej pamięci“. Zamiarem młodzieży było złożyć wieńce przed domem szewca Kilińskiego, z którego to domu obwołanem było najprzód powstanie, lecz policya, przygotowana zawczasu, otoczyła i zabrała do więzienia uczestników demonstracyi w liczbie 300. Wszyscy zostali wysłani w głąb Rosyi, a między nimi i wyżej wspomniana panienka. Przypuszczają, że ich rozdzielono i że każdy z nich znajduje się w innej miejscowości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODEZWA.

W dniu 20 maja 1871 roku zawiązane tu zostało „Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt polskich“. W roku więc przyszłym w maju upływa lat 25 od jego założenia. Bez żadnej przesady powiedzieć można, że przez tę ćwierć wieku nie napróżno ono istniało. Wobec bowiem niewielkich funduszów, jakiemi rozporządzało, wiele dokonało, pomogło do wykształcenia wielu prawnicom na różnych polach zajęć kobiecych, które z pożytkiem dla społeczeństwa pracowały i pracują. Liczby w tym względzie są najwymowniejsze. Otóż instytucya w ciągu 24 lat udzieliła pomocy 61 kształcącym się na nauczycielki wyższe, na nauczycielki muzyki 11, na bony freblowskie 34, na buchalterki 70, na rysowniczki 1, na fotografistki 10, na krawczynie 178, na modniarki 63, na wyuczenie się szycia bielizny 8, haftu 25, na gospodynie wiejskie 58, praczki i prasownice 151, fryzyerstwa 12, kucharki 49, dentystki 3, ochroniarki 13, szewczynie 8, introligatorki 4, drzeworytniczki 1, fabrykantki sztucznych kwiatów 2, aptekarstwa 1, mleczarstwa 2, poszywania parasoli 1, razem 756. — Wydano zaś na ich naukę i utrzymanie 138,954 mr., czyli w przecięciu na jedną uczennicę 180 marek.

Dziś zatem zawdzięcza ofiarności społeczeństwa naszego 756 dziewcząt swe fachowe wykształcenie, dzięki któremu zdobyły sobie i zdobywają byt i są prawdziwie pożytecznemi społeczeństwu. Przekonani też jesteśmy, że społeczeństwo nasze nie wypuści z swej opiekuńczej troskliwości tyle pożytecznego Towarzystwa i nadal wspierać je będzie. Mianowicie da dowód tej troskliwości i życzliwości tego roku, który nas zbliża do jubileuszu i z hojnemi datkami pospieszy ku jego dalszemu utrzymaniu i opatrzeniu.

W pierwszej zaś linii pospieszą z datkami dawniejsze stypendyatki, wywięzując się przez to z długu wdzięczności, zaciągniętego względem społeczeństwa i dadzą nadto w miarę możności środki do kształcenia biednych ich siostrzyc. Niechaj zatem rok bieżący będzie dowodem uznania dla użyteczności Towarzystwa pomocy naukowej, miłości dla siostrzyc biedniejszych i zarazem okazem wdzięczności dla tych, które byt swój pomocy tegoż Towarzystwa zawdzięczają.

Wszystkie dzienniki polskie prosimy o przyjmowanie datków, a następnie odsyłanie ich do kasyerki Towarzystwa.

Poznań, 28 września 1895.

Helena Jakowicka, przewodnicząca. *Marya Kobylińska*, sekretarka.
Marya Szaniecka, kasyerka.
Emilia Szaniecka. Marya Mycielska.
Wanda Niegolewska. Anastazya Danysz.
Anastazya Warnka. Marya Stasińska.
Cecylia Zielewiczowa. Wanda Koehlerowa.
Teodozya Veit.
Fr. Dobrowolski. Ks. kanonik Kubowicz.
Stanisław Motty.

Z estrady i sceny.

(Intratna posada. Komedya w 5 aktach A. Ostrowskiego. Przekład z rosyjskiego).

Rzecz dziwna! nawet ta garstka ludzi, którzy, mimo zabójczej atmosfery poznańskiej, zachowali w duszy swojej kącik maleńki, gdzie mieszka sztuka i piękno, — nawet ci, których towarzystwa szuka się po teatralnych premierach, by w poufnej gawędce snuć dalej wątek artystycznych wrażeń, — nawet oni dla sztuki Ostrowskiego nie mieli nic prócz kamienia. Nie mówię o wszystkich, ale słyszałem tam właśnie kategoryczne wystrzały niechęci, gdzie ich najmniej się spodziewałem, gdzie piękno kochają, cenią i pojmują. A tego piękna dramatycznego jest wiele, bardzo wiele w komedyi rosyjskiego autora.

Oni jednak mówili: „Studencka robota! Szereg obrazków rodzajowych, dobrych do noweli. Wszystko rozbite i rozdeptane. Wraz z pierwszym aktem wątek się urywa i w trzech odsłonach szukasz go napróżno.“ Być może. Wirtuozem nie jest Ostrowski. Sztuka jego powstała w chwili, gdy jeszcze francuzka technika nie królowała wszechwładnie na scenach europejskich, więc czarnoksięstwo takich Ohnetów, Sardou, Dumasów i niemieckich wychowańców mistrzów nadsekwańskich nie układało mu linii w piękne wiązania, opromienione blaskiem lśniących fajerwerków. Dla ludzi lubujących się tylko w zręcznym Sardouizmie, gdzie wszystko łączy się, plącze i rozwija z artyzmem figur baletowych, gdzie ręka żonglera wyrzuca w górę tuziny błyszczących kul i popieściwszy się ich tańcem wężowym, chwyta je razem i prezentuje rozbawionym widzom, gdzie 10 szufladek akt pierwszy otwiera a ostatni zamyka i równa, — dla tych wszystkich — nie przeczę — piękno Ostrowskiego, a może piękno rosyjskiej sztuki wogóle pozostanie zagadką. Jest jakaś surowość w artyzmie wschodniego kolosu, konstrukcye skrzywione i materyał twardy, bez apretury i rzeźby, — artyzm ten nie pieści oka i ucha, lecz przygnębia jakąś głuchą, elemen-

tarną potęgą i rozdziera dusze jakimś jękiem wielkim i analizą niemiłosierną. wypruwającą nerwy z ludzkich organizmów i rozświetlającą wężami błyskawic otchłanie duszy ludzkiej i ludzkich stosunków.

Powtarzam raz jeszcze: Wirtuozem nie jest Ostrowski. O prawidła ruchu scenicznego nie dba. o zajmującą intrygę się nie stara, na artystyczny układ materyału zdobyć się nie umie. Zapragnął dwie tragedye w sztuce swej połączyć, lecz pozrywał komunikacye i rozdarł swój utwór na dwoje. Zatraciwszy akord pierwszego aktu, podniósł go w piątym dopiero i zamiast akcyi dramatycznej wyśpiewał tylko w końcowej odsłonie opowieść kobiety o nieznanych, gdzieś za kulisami rozegranych dziejach. I tak znienacka zaskoczył widza finałowym dźwiękiem obcego widzom dramatu. że wielka scena między starcem shańbionym a przykutą do łoża jego małżonką młodą stała się czemś oderwanem i cudzem. Wiemy, że Mikołaj Wierniew kupił sobie żonę, wiemy, że ona go zdradziła, ale boje tych istot, ale męczarnie kobiety związanej z mężem-półtrupem i otoczonej wyziewami czynowniczego bagniska, giną w pomroce. Akt drugi, trzeci i czwarty zawierają dzieje innych ludzi. W zgniliźnie biurokracyi rosyjskiej zjawia się jakiś człowiek dziwny, — Żadow nazwisko jego. Wśród łotrów, łapowników, złodziei, oszustów i głupców staje dumny, uczciwy i rozumny. Z ław uniwersyteckich wyniósł prócz wiedzy kult piękna, dobra i prawdy. Typowy liberał z czasów Aleksandra II, gdy „młoda Rosya" rwała się do reform, gdy humanitarne hasła rozpierały serca i garść duchów płomiennych wiodła bój szlachetny z ciemnotą i zdziczeniem moralnem własnego narodu, — błąka się ten Żadow wśród znikczemniałej zgrai rosyjskich czynowników z skargą i przekleństwem na ustach. A oni nienawidzą „filozofa". Na trzęsawisku, które chleb im daje, takich głosów nie słyszano nigdy. Tam odzywał się tylko głuchy plusk płazów, nurzających się w lepkiem i cuchnącem bagnie, a gdy nad morzem zgnilizny staje Żadow-człowiek i do człowieczeństwa nawołuje płazy, zrywa się motłoch przerażony i syczy: „Niech będzie na podobieństwo nasze lub niechaj ginie". Znam mało tragedyi tak przejmujących jak ta cicha męka uczciwej jednostki z otoczeniem zgniłem. Bo ta męka nosi szare cechy powszedniości i dla tego może właśnie tak za gardło chwyta i dusi. Nadzwyczajnych kolizyi i nadzwyczajnych wypadków tu nie ma. Proste życie, prosta walka z głodem, prości ludzie i proste wyrzuty banalnej kobiety, złączonej z człowiekiem o szlachetniejszych dążeniach. W tym Laokonowym uścisku pospolitej szarości bytu szamoce się Żadow, ugina, by po chwili powstać i dalej się męczyć i przemęczyć życie. Głupcy i złodzieje tryumfują, piją szampany i tańczą, a on wraz swoim smutkiem błąka w ponurych kątach ubogiej izdebki, spogląda w kwaśne oblicze żony i czasem tylko zajęczy głucho płaczem rozpaczliwym.

Zaprzeczyć trudno, że i w tej drugiej tragedyi „Intratnej posady" autor nie ustrzegł się pewnej monotonii i błędów w konstrukcyi, ale tysiąc sto razy ta surowa boleść prawdy życiowej od okrągłości, elegancyi i efekciarstwa, królujących dziś jeszcze na scenach europejskich. Komedya Ostrowskiego to jakiś straszny krzyk nad otchłanią nędzy rosyjskiej, to jakaś olbrzymia skarga nad ciemnotą i upadkiem własnego narodu, to jakaś walka drobnych światełek z masami gęstych, nieprzebranych cieni. A tragedya ta wgryza się dla tego właśnie tak głęboko w duszę ludzką, że to nie karykaturzysta i nie satyryk, lecz potężny wertysta przemawia do nas ze sceny. Obraz cały kąpie się w tintach żałobnych, ale ani na chwilę widz nie doznaje uczucia, że autor tendencyjnie tintę te nakłada, że dla osiągnięcia plastyki scenicznej lub humorystycznych efektów wykrzywia i czerni postacie. Bagno i bagno bez końca, wielkie, grzezkie i rozpaczliwe, lecz to bagno życia, nie produkt satyrycznej fantazyi. Każda nikczemność, każde łotrostwo ma tu dźwięki ludzkie, a wszystko razem jest niemal jakąś naiwnością występku, jakąś wiarą, że tak być musi, jakiemś obłąkaniem moralnem. Ostrowski posiada przedziwny talent wydobywania życia kilku kreskami, jednym zwrotem stylowym, jednym jękiem. Co to za wspaniała postać taki Jusow ze swoim wstrętem do „uczonych" i „uczciwych" ludzi. Lub takie dwie epizodyczne figury aktu III jak Mykin, przyjaciel Żadowa, i Dosużew, pokątny doradzca. Dawno mi już scena takim bólem nie grała jak w owej chwili, gdy Mykin w półjęku mówił przed Żadowem, że w Rosyi nie ma szczęścia dla uczciwych, a Dosużew z desperackim humorem zalecał strapionym i złamanym wódkę-pocieszycielkę. „Nie pij ty wina, pij ty gorzałkę" — mówił do Żadowa i cała scena brzmiała wielką skargą.

Kreacya tych postaci przynosi zaszczyt prawdziwy panu *Nowackiemu* i *Berskiemu*. Gra ich była dziwnie dyskretna a smutek głęboki, i mimika twarzy wyrazista. Dwie te maleńkie role wysunęli młodzi artyści na pierwszy plan. Niespodziewanym tryumfem stał się również występ p. *Grabowieckiego*. Mimo właściwego nowicyuszom scenicznym spętania ruchów i chwilowych zalęknień zdobył się ten artysta na wspaniałe dramatyczne akcenty. Płacz w akcie III i wielka scena aktu IV, gdy Żadow się łamie, stały się objaśnieniem *par excellence* realistycznego talentu. Gra p. Grabowieckiego zdradzała wymownie, że artysta przyswoił sobie duszę bohatera i wyrzucił ją z siebie całą i niesfałszowaną. Umiał on być szczerym i potężnym w chwilach uniesień, — sztucznym i skrępowanym natomiast zdawał mi się tam, gdzie burza uczuć drzemała. Po nieudanej roli Zbigniewa stała się kreacya Żadowa zdumiewającą niespodzianką.

Z szczerem uznaniem zapisuję tu również charakterystyczną grę p. *Jakubowskiego* w roli Jusowa. Artysta nasz stworzył typ o znakomitej plastyce. żal mi tylko było, że — nie wiem, czyja tam ręka — usunęła z roli jego kilka nader ciekawych, dla dokładności psychologicznego rysunku niezbędnych prawie ustępów. Pan *Knapczyński* jako Białogubow nie ujawnił może dość naiwnego sprytu. właściwego tej postaci, ale po za tem umiał być "szeroką naturą" niepozbawioną humorystycznego kolorytu. Pan *Skirmunt* wreszcie głuchą wściekłość zdradzonego męża odegrał z wspaniałym realizmem, a całą postać skąpał w starczej słabości, odbijającej jaskrawo na tle młodej i pięknej małżonki.

Z kobiet występujących tryskała p. *Ogińska* życiem i swobodą, a lubo miejscami zgrzytła tam pewna afektacya w ruchach i dykcyi, to jednak postać Poli Kukuszkinówny zdradzała sumienne studya i zrozumienie typu. Gra panny *Paszkowskiej* raziła brakiem pamięciowego opanowania roli, co obniżyło wrażenie dramatycznej sceny z Wierniewem w akcie ostatnim. Mimo to jednak było tyle wytworności w tej żonie Wierniewa i tyle zimnej dumy i żalu grało chwilami w wspaniałym głosie artystki, że chociaż wieczór sobotni do szczerych oklasków rąk jeszcze nie składał, to niewątpliwie przyszłość obdarzy niemi artystkę. W końcu podnoszę jeszcze grę p. *Jakubowskiej*, w roli Julii, nie pozbawioną filuteryi, wdzięku i swobody.

O ile jednak poszczególne role znalazły poprawnych a nawet doskonałych przedstawicieli, o tyle całość sztuki nosiła piękno dorywczego wykończenia. W grupach nie było rysunku, w scenach ensemblowych raziła plątanina, a dyalog zbiorowy rwał się i haczył.

W. R.

NA WYŁOMIE.

(Przemówili. — Jeszcze o przyczynach upadku prasy. — Pogoń za skandalem. — Protestujmy.)

Zamieszczając w ostatnich tygodniach szereg artykułów o umysłowem i moralnem bankructwie prasy poznańskiej, nie przypuszczaliśmy, że już najbliższa godzina dostarczy nowych, dziwnie jaskrawych dokumentów na potwierdzenie analizy naszej. Dziesiątki listów dziękczynnych nadesłanych redakcyi świadczą wymownie, że protest nasz obudził w społeczeństwie instynkt krytyczny, że wypowiedział może pełnym głosem to tylko. co w ukryciu oddawna już jak robak wgryzło się w serca uczciwych i światlejszych ludzi. Lecz dziennikarstwo milczało. Czy to wstyd nie zamarły jeszcze do szczętu, czy strach przed reklamą dla śmiałych analityków spętał mu pióra, — nie wiemy. Dość, że prasa odpowiedziała głuchą ciszą na bolesną skargę „Przeglądu" i trzeba było dopiero pojawienia się peryodycznych paszkwilów, trzeba było pamfletu na jeden z uczciwych i zasłużonych domów poznańskich, aby zerwała się burza dziennikarska i krzyk przerażony: Giniemy!

W „Dzienniku Poznańskim" ukazał się artykuł, napisany z niezwykłą w tym organie siłą i energią, — i wnet prasa miejscowa i prowincyonalna rozbrzmiała echem pobudki. Zrozumieli nagle wszyscy, że stoimy na bagnie lepkiem, grzęzkiem i głębokiem, zrozumieli wszyscy, że „coś się stać musi", jeżeli rak niema stoczyć prasy i społeczeństwa. Dziwni krótkowidze i dziwni lekarze chorób społecznych! Gangrena dawno już w czarno-sinych barwach ślady swe znaczyła, a oni sądzili, że to plama zwykła, — znamię bez znaczenia. I dopiero wtedy, gdy zgnilizna doszła już prawie do serca i coraz groźniej świadczyła o sobie, padł strach i smutek na mędrców i „pisma uczonych". Lecz i w tej chwili krytycznej nikt nie uczynił rachunku sumienia i pokutną ręką w piersi nie uderzył, — nikt nie zapytał, kto wykarmił to wyuzdanie dziennikarskie, które bezkarnie grasuje na bruku poznańskim, wdziera się w progi rodzinne, bezcześci uczciwe kobiety i błotem rzuca na ludzi, których winą chyba to jedno, że wzrostem przerastają tłum rewolwerowy. Toż „Kuryer Poznański" przedrukował artykuł „Dziennika" w sprawie „godności dziennikarskiej", — przedrukował i nie spłonął wstydem. O! cnoto, gdybyś ty innych obrońców nie miała, to lepiejby ci było zakryć twarz i w ziemię się przepaść. Bo któż to dzisiaj rycerzem twoim się mieni, — któż dzisiaj z apostolską powagą gromi napastników? Zdaje mi się, że oszczędzić sobie możemy długiej litanii „Kuryerowych" grzechów. Odmawialiśmy ją od pierwszej chwili naszego istnienia i każdy z czytelników naszych zrozumie krwawą satyrę tkwiącą w tem Kalchasowem kaznodziejstwie cnoty. I gdyby „Dziennik Poznański" zajrzał w głąb własnej swej duszy, zrozumiałby może również, że i jego oficyna była rozsadnikiem lasecczników zgnilizny, że i tam nietylko tolerowano każdy gatunek broni, zwrócony w stronę wrogów politycznych, nietylko rozpasaną stronniczością użyźniano ziemię pod zasiew blekotu, nietylko maskowaniem występków obniżano pojęcia etyczne, lecz w pewnych momentach nie wahano się wręcz zapożyczać w banku "Kuryerowych" wartości. Nie chcemy krzywdzić „Dziennika", równając go z organem duchowieństwa, ale trudno nam wśród przyczyn dekadencyi poznańskiej milczeniem pominąć dwulicowość jego. Jeżeli druzgocący artykuł poświęcony rozkładowi prasy stanowi początek nowej ery w dziejach najstarszego z czasopism poznańskich, to witamy radośnie sprzymierzeńca w walce z obłudą. szarlataneryą, fałszem i oszczerstwem: a walka ta częściej kończy się krzyżem i koroną cierniową niż laurem, bo gdy z jednej strony walczy człowiek bronią szlachetnych i uczciwych a z drugiej staje bandyta lub szachraj drukowanego słowa, to życie wtedy jest jak ów obraz niemieckiego mistrza, gdzie w nocnym pejsażu, pełnym grozy i burzy, stoi dziewczę młode, z obliczem dumnem i nieskalanem a jędza potworna ściska mu gardło kościstą dłonią. I właśnie u nas bój ten staje się cięższym niż wśród innych ludzi, bo dziennikarstwo do tego stopnia zdemoralizowało opinią publiczną, że chcąc w niej właśnie znaleźć sojusznicę, trzeba mozolną i długą rozpocząć hygienę. Cóż z tego, że jedno lub drugie z uczciwszych czasopism nazwie po imieniu zgrają „literatów", zamieniających pióro na maczugę, cóż z tego, że „Dziennik Poznański" wyrzuca z kałamarza swojego niezwykłe słowo „szubrawcy", jeżeli

opinia milczy lub w kącie ręce zaciera rozkosznie. Toż my na każdym kroku spotykamy ludzi, mówiących nam w poufnych gawędkach: „Zdepczcie co pełza. Zduście zarazę w zarodku. Stawcie pręgierze dla niesumiennych aferzystów, przedzierżgniętych w redaktorów i redaktorków“, lecz ci sami Katoni z poznańskiego bruku nie wahają się, zanim jeszcze echo słów takich przebrzmiało, ściskać publicznie potępionej ręki i w cieniach nocy znosić materyał fabryce paszkwilów. Zamiłowanie do skandalu stało się epidemią miejską. Mniejsza o to, czy ktoś puści anegdotę o płatnym szpiegu niemieckim, czy obrzuci śliną uczciwą kobietę, czy podpatrzy ilość wypitych szampanek, wydrwi zaręczyny tej lub owej panny lub porodzi kaczkę o bankructwie sensacyjnem, — zawsze znajdzie łakomych awantury czytelników i rozradowanych zdobyczą kolporterów. Nas interesuje skandal i skandal bez końca. Gdyby ktoś ogłosił nagle, że pani X. otrzymała od pana Y. naszyjnik brylantowy, dysputowanoby o tem dłużej i zawzięciej niż o śmierci Carnota lub tragedyi w Krożach. A im drastyczniejszą jest napaść, im dotkliwiej szarpnięto honor jednostki, im brutalniej obnażono tajemnice rodzinne lub domowe, tem radośniej błyszczą źrenice naszych wielkich i małych plotkarzy poznańskich. Przyciśnięty do muru odpowiada taki pan zwykle, że potępia napaść, lecz raduje się dowcipem i formą. „Well roared lion“ — ale nieuczciwość pozostaje zawsze nieuczciwością, bez względu na to, czy ubiera się w stylowe kostyumy i świecące klejnoty, czy też w nędznych stąpa łachmanach. Zresztą, miły Boże, gdzież tu w tych poznańskich paszkwilach jest pianka i szum nadsekwański, — gdzież ostatecznie dowcip takich Saphirów i Börnów? Wszystko takie gospodarskie, takie ordynarne, grube a pretensyonalne, że już nietylko nad etyką autorów, ale nad ich bezsiłą umysłową ręce załamać wypada. Czyż klakierzy kalumnii istotnie złota dowcipu od tombaku odróżnić nie umią? Może, — ale prawdopodobniejszem zdaje mi się przypuszczenie, że owa admiracya formy jest tylko płaszczykiem, że oni w samej rzeczy zachwycają się treścią napaści, brukaniem ludzi i deptaniem ofiar.

Przeciwko temu to rozpasaniu najniższych instynktów natury ludzkiej, nawołujemy wszystkich uczciwych kolegów po piórze do bojowego aljansu. Nie przeceniamy bynajmniej wpływu drukowanego słowa na umoralnienie społeczeństwa, ale zdaje nam się, że dotychczasowe praktyki dziennikarstwa poznańskiego i owo apatyczne „laisser-faire“, stosowane wobec najwyuzdańszego bezwstydu, zamiast kruszyć zwierzę w człowieku, karmi je i rozzuchwala. Być może, że rzecznictwo takich ideałów rozpęta zrazu przeciw nam satyrę tych, dla których wanienka z błotem jest ulubionem mieszkaniem, i tych, którzy na bruku poznańskim zorganizowali bandę tajnych agentów dla wykradania lub fabrykacyi tajemnic prywatnego życia i przetapiania ich na pokupny towar dziennikarski. Dalej zatem! W górę pałki! Potwierdzicie tylko słowo poety o „głodnych, wyjących pod piramidą szakalach“.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Kobieta a mężczyzna. Profesor uniwersytetu wiedeńskiego *Benedikt* poświęca w najświeższem dziele swojem p. t. „Die Seelenkunde als experimentale Wissenschaft“ obszerny rozdział kwestyi kobiecej. Z rozdziału tego podajemy w streszczeniu ustęp następujący.

Kobieta ma ogromną wyższość nad mężczyzną pod względem szlachetności uczuć i zdolności znoszenia cierpień wypływających z tychże uczuć. Mężczyzna nie byłby zdolny do tak ciężkiej walki, jaką niejednokrotnie toczą kobiety w obronie swojego honoru. To też wejście kobiet do życia publicznego jest bardzo pożądane, ze względu na podniesienie się poziomu etycznego stosunków społecznych. Ze jednak prawa naturalne ustanowiły wyraźne różnice pomiędzy dwiema płciami, nie należy dopuszczać kobiety do równouprawnienia z mężczyzną, aby nie obniżać poziomu inteligencyi i czynnej energii rodzaju ludzkiego.

Należy kobietom przyznać prawo kształcenia się i pracy w granicach ich sił naturalnych, tem bardziej, iż większość dziewcząt ze sfer mieszczańskich, średnio zamożnych, a raczej pracujących na swoje utrzymanie, nie wychodzi za mąż z powodu braku posagu, a więc chybia swemu naturalnemu przeznaczeniu. Wykształcenie niższe i średnie powinno być dostępne zarówno dla mężczyzny, jak dla kobiety. W profesyach liberalnych, wymagających wyższego wykształcenia, kobiety zdolniejsze dochodzić mogą do wyżyn, dosięganych przez mężczyzn, zwłaszcza w zajęciach, które nie wymagają zdolności twórczych. Ale wielkie prace społeczne i techniczne, wielkie rezultaty niech pozostaną dla mężczyzny, nie dla tego, aby wykształcenie współczesne kobiety miało być niższe od wykształcenia mężczyzny, ale że natura chce tego. Nieliczne wyjątki, które spotykamy od czasu do czasu, potwierdzają regułę, bo natura często bawi się, stwarzając nadzwyczajności, których jednak na seryo w rachubę brać nie można. Od lat niezliczonych kobiety grywają i znają się na muzyce, ale kompozycye kobiece należą do rodzaju niższego.

Różnica pomiędzy mężczyzną a kobietę manifestuje się bardzo jaskrawo w dążeniach nienormalnych płci obu. Kobieta kłamie tak łatwo, jak dziecko, gdyż uważa kłamstwo za broń, mniej godziwą od innych, ale może od innych skuteczniejszą. Kobieta skłonną jest do krętactwa z powodu swojej słabości naturalnej. Mężczyzna jest raczej skłonny do niszczenia tego, co mu zawadza, niż do okłamywania innych lub siebie nawet, jak się to kobietom zdarza. To też liczba przestępców płci żeńskiej jest niezmiernie nizką w porównaniu z liczbą przestępców płci męzkiej. Kobieta jest słabą fizycznie, ale daleko więcej wytrwałą. Kobieta jest niższą od mężczyzny wszędzie, gdzie czyn wymaga jednorazowego wielkiego natężenia woli; tam, gdzie czyny wymagają stałego natężenia woli, kobiety są wyższe od mężczyzn.

Kobieta i mężczyzna — kończy rzecz swoją profesor Benedikt — nie są to dwie jednostki jednego i tego samego rodzaju istot, ale dwie jednostki istot różnych, choć do siebie podobnych. Nie można też mówić o absolutnej ich równości, gdyż porównywać ze sobą można tylko pojęcia sobie podobne.

* * *

Poznańskie Towarzystwo przemysłowe uchwaliło rozpisanie konkursu na pracę p. t. „Wystawa poznańska a nasz przemysł i handel“. Broszura ta ma zawierać:

1) przedmowę, zawierającą między innemi zwięzły opis wystawy; 2) współudział Towarzystw naszych przy urządzeniu wystawy; 3) skorowidz wystawców Polaków z wyszczególnieniem ich wyrobów i to: a) miasta Poznania, b) zamiejscowych; 4) wykaz znaczniejszych przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych w Poznaniu, które udziału w wystawie nie wzięły; 5) pogląd ogólny na stan nasz przemysłowy i handlowy z uwzględnieniem ekonomicznych potrzeb i dążeń; 6) zakończenie wykazujące braki i niedomagania w dziedzinie naszego przemysłu i handlu.

Prace nadesłane być mają dyrekcyi Towarzystwa na ręce przewodniczącego p. dr. Karchowskiego najpóźniej do 15 listopada r. b. Objętość broszury ma wynosić 4—6 arkuszy druku 8.

Uchwalono dalej dla autora najlepszej pracy 200 marek honoraryum. Jury składać się będzie z członków dyrekcyi Towarzystwa i kooptowanych przez nią sędziów. Broszury tej wyjdzie dziesięć tysięcy egzemplarzy.

* * *

Redakcyę „Dziennika Kujawskiego“ objął dawniejszy redaktor „Nowin Raciborskich“, dzielny szermierz narodowy i zdolny publicysta p. I. K. Maćkowski. Redakcyą „Gazety Gnieźnieńskiej“ kierować będzie pan Józef Chociszewski.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** Podług spisu ludności z 14 czerwca r. b. liczą Prusy 31,491,209 osób. Dnia 1 grudnia 1890 roku wynosiła liczba ludności 29,957,367 osób; wzrost więc ludności wynosi w czterech i pół latach przeszło półtora miliona czyli przeszło 5 proc. — Cesarz austryacki przesłał już hr. Badeniemu nominacyę na prezesa ministrów i wezwał go oficyalnie do przedstawienia wniosków w sprawie utworzenia nowego gabinetu. — Zmniejszenie się produkcyi cukru w rozpoczętej teraz kampanii oblicza statystyk Sicht dla Niemiec i Austryi na zasadzie tegorocznego ograniczenia uprawy buraków na 30 procent w roku zeszłym. Dla całych Niemiec obliczają zmniejszenie produkcyi z 4,800,000 na 3,600,000 ton. — Pisma polskie wychodzące na Górnym Szląsku proponują na kandydata do parlamentu niemieckiego w okręgu pszczyńsko-rybnickim p. Adama Napieralskiego, redaktora bytomskiego „Katolika“. Pisma poznańskie i zachodnio-pruskie wyraziły sympatye swoje dla kandydatury powyższej.

* **Teatr i muzyka.** Czwartkowe przedstawienie „Uriela Akosty“ w teatrze poznańskim stało się bardzo interesującem ze względu na występ młodej i utalentowanej artystki p. Paszkowskiej w roli Judyty Doskonała gra bohaterki rozbroiła nawet niechętnych i uprzedzonych, stwierdzając wymownie, że talent jej posiada siłę niepospolitą. Obszerniejsze uwagi zamieścimy w numerze następnym, — tu nadmieniamy jeszcze, że obok panny Paszkowskiej zjednali sobie gorące uznanie publiczności panowie Skirmunt i Nowacki. — Była artystka teatru poznańskiego p. Łaska została angażowaną do rządowych teatrów w Warszawie. — Scena warszawska wystawi niebawem dramat Jerzego Hirszfelda p. t. „Matki“. Przekładu dokonał Maryan Gawalewicz. — W Kijowie występował z wielkiem powodzeniem Myszuga w operze Czajkowskiego p. t. „Eugeniusz Onegin“. — Ignacy Paderewski rozpoczął kilkomiesięczną podróż po Ameryce — W Monachium wychodzić zaczęło pismo, poświęcone wyłącznie grze na mandolinie. — W sobotę odegraną zostanie w teatrze poznańskim czteroaktowa komedya Blumenthala i Kadelburga p. t. „Dwa herby“. Główne role obejmą p Vernon i p. Ogińska. — Dyrekcya teatru poznańskiego nosi się podobno z zamiarem wystawienia w najbliższym czasie głośnej komedyi Sardou p. t. „Madame sans Gêne“. — Dyrekcyę teatru Stanisławowskiego objął pan Myszkowski.

* **Zjazdy i kongresy.** Międzynarodowy kongres fizyologów zebrał się w Bernie. — Kongres rolniczy rozpoczął swe obrady w Brukseli. — W Lubece od dnia 16 do 21 z. m. odbywał się zjazd przyrodników i lekarzy niemieckich. — W Bernie odbył się zjazd statystyczny pod przewodnictwem prof. Rawsona z Londynu. — W Zgorzelicach na Szląsku Górnym odbył się 24-go zjazd fotografów z Niemiec, Austryi, Szwajcaryi i Rosyi, którzy się zajmowali głównie prawem o ochronie własności w tej dziedzinie. — Zjazd mechaników i optyków odbył się w dniach 12 do 14 września w Hamburgu. — W Bazylei miał miejsce 20 sierpnia kongres międzynarodowy w celu zwalczania pijaństwa.

Zmarli:

* **Ks. Eustachy Skrochowski**, prof. historyi kościelnej uniwersytetu lwowskiego, zm. 17 września.

* **Prof. Ludwik Pasteur**, słynny bakteryolog, zm. w Paryżu w końcu września.

* **Gustaw Ehrenberg**, znany poeta, literat i działacz polityczny, zm. w Krakowie 28 września.

BIBLIOGRAFIA.

Dr. Z. Celichowski. Znaczenie i rozwój przemysłu domowego i handlu ludowego. Poznań, 1895.

Alkar. Łazarz Carnot jako wygnaniec w Warszawie. Kraków, 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

Zdziwionemu. Numer „Kuryerka teatralnego“ został dołączony bez woli i wiedzy redakcyi do przeszłego numeru „Przeglądu“.

Erna. Dziękujemy za wyrazy uznania i popieranie pisma naszego. Numery okazowe wyślemy. O terminie przedstawienia „Łotrzycy“ nic pewnego donieść jeszcze nie możemy.

Od Administracyi.

Jeden z Czytelników naszych życzy sobie mieć numera: 8, 9, 31, 32 i 34ty „Przeglądu Poznańskiego“ za odpowiedniem wynagrodzeniem. Ktoby takowe posiadał i sprzedać je zechciał — niechaj się zgłosi do naszej ekspedycyi.

Składki.

Na rzecz „Tow. Pomocy naukowej dla dziewcząt polskich“ złożyła:

Z. T. 30 marek.

O dalsze składki gorąco prosimy ze względu na humanitarny i narodowy kierunek tej instytucyi.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 41. Poznań, Niedziela 13. października 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„**Przegląd Poznański**“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Ul. św. Marcina 22, II.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 40 fen. pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Nowe ministeryum Austryi.

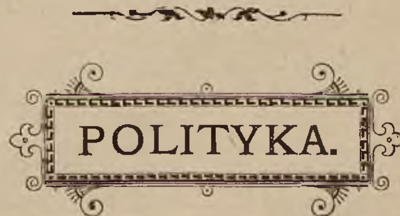
Wiedeń, 9-go października.

Po upadku koalicyi, która w bardzo krótkim czasie swego istnienia spowodowała niezliczone niechęci, a pozostawiła chaos i egoistyczne dążności każdej partyi z osobna, nastąpiło prowizoryczne ministeryum z Kielmansegiem na czele, które uregulowało prowizoryczny budżet i... spadło z etatu. Austryackie stosunki parlamentarne, a na to zgadzają się partye wszystkich odcieni, są rzeczywiście tak rozluźnione, że trzebaby chyba jakiejś przyczyny z zewnątrz państwa, aby wywołać zestawienie się w karne szeregi wspólnej pracy i celu tych, dla których interesy całości państwowej nie przedstawiają dziś żadnego znaczenia. Rzymianie, nawet w czasach najbardziej demokratycznych swego rządu, oddawali jego władzę w ręce dyktatora, jeżeli wywołane różnemi przyczynami okoliczności tego koniecznie wymagały. W Austryi właśnie taka chwila nadeszła, a chociaż hrabia Badeni nie został mianowany dyktatorem, to przecież dyktatorską spełniać będzie władzę! „Silną ręką“ ma on chwycić w ten panujący obecnie zamęt partyjny, aby stworzyć porządek i rozleciałe części złączyć i popchnąć w jeden kierunek i do jednego celu. Czy mu się to uda, jest kwestyą czasu, a w jaki to sposób uczyni — tajemnicą. Rozliczne głosy o systemie rządzenia nowego prezesa ministrów powiadają, że hr. Badeni będzie rządził po „austryacku“, a jeden z nowo mianowanych ministrów, hr. Ledebur, broniąc w swoim czasie koalicyi, powiedział wówczas także, że Austrya musi być tylko po „austryacku“ rządzoną! Radzibyśmy jednak poznać definicyę pojęcia tego. Co to jest austryackie rządzenie? Czy jest rząd w Austryi, któryby mógł lub chciał poprzedniemu zarzucić, że *nie rządził* po austryacku? Hr. Taaffe, którego polityka ugodowa uznawaną była przeszło dziesięć lat jako ekstrakt prawdziwego austryacyzmu — upadł w chwili, kiedy podał projekt reformy wyborczej cesarską łaską usankcyonowany; koalicya, która w połączeniu trzech największych stronnictw starała się utworzyć prawdziwy mikrokosmos austryacyzmu, rozbitą została wewnętrznemi przyczynami, a obecnie przychodzi hrabia Badeni, aby wszystkie istniejące dolegliwości owym uniwersalnym środkiem „austryacyzmu“ wyleczyć i zniszczyć. Gdzież jest prawda, gdzież jest ten „prawdziwy austryacyzm?“ Pojęcie to musi być już raz określone, aby połączyć w sobie wszystkie kierunki w państwowym organizmie Austryi istniejące — ale któż odnajdzie ten rzeczywiście skuteczny na to środek? Hr. Badeni jest w obecnym stanie politykiem zupełnie empirycznym. Nie wyjawia nam definicyi prawdziwego austryacyzmu, ale ma nadzieję, że ciężkie zadanie rządu empirycznie rozwiąże. Otoczony więc jest tajemnicą rząd nowego ministeryum, a wszelkie chęci rozjaśnienia tej tajemnicy bądź to ze strony dziennikarskiej, bądź też ze strony istniejących w państwie partyi, uważane są przez hrabiego Badeniego za „niepotrzebne komentarze“ do tego, co nie było jeszcze wypowiedziane. Przynajmniej w ten sposób odzywał się hr. Badeni na zgromadzeniu wyborców z większej własności w Krakowie. To skarcenie wytłomaczonej zresztą ciekawości, jest bardzo charakterystycznem dla męża powołanego do nadania pewnego toru wykolejonemu parlamentowi. Nie można wątpić o tem, że przy obejmowaniu stanowiska, wymagającego tak wielkiej odpowiedzialności, człowiek ten ma bardzo daleko sięgające zamiary, ale szczegóły tych zamiarów troskliwie ukrywa. Wie on doskonale o tem, że plan operacyjny, któryby widocznym był jak figury na szachownicy, wywołałby przeciwdziałanie, a tego jako polityk niechce i unika przedewszystkiem — interwieweurów. Nowy prezes gabinetu pragnie zaskoczyć niespodzianie każdą partyę z osobna i wszystkim razem dać wielkiego mata.

Pewne małe zaznaczenie swego przyszłego kierunku rządzenia Austryą, podał hr. Badeni w słowach, jakiemi się powołał na swoją przeszłość. Mają one być niejako kluczem do rozwiązania tajemnicy. Na zgromadzeniu w Krakowie odwołał się na odręczne pismo cesarza, przepełnione rzeczywiście wyrazami nadzwyczajnej miłości dla Galicyi i wyrazami uznania dla jej byłego namiestnika nietylko za służenie dobru powierzonego mu kraju, ale tem samem służenie dobru całego państwa. W piśmie tem zwraca cesarz uwagę we wdzięcznych i gorących słowach na pełen ofiarności patryotyzm Galicyi, w którym dobro państwa i jego obrona zawsze pewną i silną znajdują podporę. Powołanie się więc na to pismo ma oznaczać, że hrabia Badeni swój sposób rządzenia Galicyą zastosuje do rządzenia całem państwem. Czy sposób ten da się przenieść z małego kraju na całe cesarstwo, trudno na razie przesądzać. Pamiętajmy jednak o tem, że w monarchii austryackiej mieszka dziewiętnaście narodów, tylomaż mówiących językami; że każdy z nich posiada swoje autonomiczne prawa, tradycye i nadzieje i że w każdym z nich są różne partye, każda po swojemu rządzić pragnąca i każda w inny sposób „zbawiająca“ swoje narodowe społeczeństwo. Sposób rządzenia krajem dwunarodowym jak Galicya, może był dobrym, ale czy dobrym będzie dla państwa o dziewiętnastu narodach?...

Jeżeli więc rządy austryackie identyczne będą z rządami polskiemi, — rozumie się nowopolskiemi, — to mogłaby się empiryczna przyprawa takiego rządzenia niekoniecznie udać.

W wywodach tych starałem się wykazać niektóre trudności jakie hr. Badeni w chwili obejmowania steru państwa napotyka. Ponieważ niewiem, na których drogach szukać będzie sposobów do ich usunięcia, nie mogę mieć też żadnego dokładnego przekonania, czy nowemu prezesowi gabinetu poszczęści się to wielkie zadanie, które bądź co bądź podjął z wielkiem patryotycznem poświęceniem. Do przyjętego obowiązku wnosi on jednak coś, co jest bardzo rzeczą ważną: siłę i wiarę w siebie samego. A ciężkie sprawy zwycięża już często wiara w możliwość ich zwyciężenia. Hrabia Badeni w przemówieniu swojem do urzędników ministeryum spraw wewnętrznych zaznaczył z możliwie największym naciskiem, że prowadzenie polityki sobie tylko zatrzymuje, a to jest wielkie i jasne wypowiedzenie. Na samym wstępie rządów nowego ministeryum leży przeszkoda, którą potrzeba wziąć od razu bardzo śmiałym rzutem: Reforma wyborów. Sprawa ta musi być rozwiązaną jak najspieszniej i możliwie jak najbardziej sprawiedliwie. Tylko przez taką reformę wyborów prowadzi droga do uspokojenia i na tej drodze stworzyć tylko można system pewnego i racyonalnego rządzenia wszystkiemi narodami, monarchię Austryi składającemi. Wtenczas dopiero można będzie na drodze empirycznej rozwiązać to zagadnienie, przy którem tyle już rządów austryackich upadło. *Xi.*



Strach paniczny.

„Wszystko, co jest, jest rozumnem“, powiedział jeden z najgłębszych filozofów i w maksymie tej tkwi bezsprzecznie głęboka myśl.

Jednakże częstokroć, kiedy patrzymy na targowisko ludzkich zabiegów, wielkiej trzeba zaiste uwagi, żeby uchwycić nić mogącą wywieść z labiryntu i uwydatnić logiczne przyczyn i skutków wiązanie.

Oto obrazek: Pan Wilhelm von Hammerstein, jeden z „najszlachetniejszych narodu“, wódz partyi, która bezustannie powoływać się lubi na honor szlachecki, na wierność niewzruszoną, na czystość swego sztandaru, kradnie pieniądze, fałszuje weksel, okrada w końcu swoich wierzycieli i najspokojniej buja sobie po świecie. Prokurator wtedy dopiero wkracza, gdy skandal stał się tak jawnym, że wróble na dachu o nim już świergocą. Czyżby prokuratorya pruska już zatraciła swoją „ciętość“? O, nie, jednocześnie pakuje ona po kolei kilku redaktorów pism robotniczych do więzienia, konfiskuje kilka gazet, przyczem niekiedy rumienić się musi i po krótkim czasie zabrane numery zwraca nakładcom. W domu bożym pojawia się napis skandaliczny, obrażający uczucia przyzwoitości, — czyż wobec tego opinia publiczna wybucha oburzeniem? Nie! „opinia publiczna“ uważa za stosowne pienić się złością i oburzeniem na — wykrywców tej niemiłej historyjki. Pan pastor Stöcker pisze do swego serdecznego przyjaciela listy, w których doradza politykę kłamstwa, obłudy, intrygi poniżającej. Pan pastor zatem stał się niemożliwym w oczach wszystkich porządnych ludzi? Nie, pan pastor Stöcker tłomaczy się podług znanej modły: „Mówią, że ja jestem niegodziwiec, ale ci, co tak mówią, w Pana Boga nie wierzą! Ot co!“ A potem jedzie na zjazd pastorów i prawi kazanie o wieczności, o cnocie, o czystości chrześciańskiej. Więc złodziejstwo nie nazywa się więcej złodziejstwem, więc podstęp bezczelny uchodzi ludziom w sukience chrystusowej, więc obrażanie przyzwoitości, zakłócanie spokoju publicznego ocenia się zależnie od tego, czy sprawa należy do tego czy do owego stronnictwa. Więc gdzie tu rozum? Owszem, to jest bardzo rozumne. To właśnie świadczy o tem, że istnieje jakaś siła wyższa, która sprowadziła ten zamęt. „Wszystko, co jest, jest rozumne“, to znaczy: wszystko co jest, jest nieuniknionym skutkiem pewnej przyczyny. Otóż zamęt, jaki powstał w dzisiejszej świadomości moralnej na polu politycznem, jest skutkiem strachu, panicznego strachu.

Paniczny strach! to dowcipne pojęcie zawdzięczamy obserwacyi Greków. Po łące kwiecistej chodzi stado baranów i szczypie sobie trawkę, w tem stado przelęknione zrywa się, ucieka, biegnie rozszalałe, dopóki biedne barany nie wpadną w przepaść, lub łbów nie rozbiją o skały, lub marnie poduszą się w błotnem trzęsawisku. Przestrach ogarnął zarówno pasterzy i biegną na złamanie karku. Cóż się stało? Niewiadomo dokładnie, — czegoś się przestraszono. To „Pan“. bożek lasów, w wybryku dzikiego humoru zabawę sobie urządził. — Wojsko zwykle zwycięskie szło na wroga i usłyszawszy zaledwie dźwięki surm wojennych, pierzchło. To „Pan“ złośliwy pomięszał szyki. Dziś jesteśmy rozumniejsi, wiemy, że „Pan“ nie straszy, więc skądże taki lęk, skądże takie pomięszanie pojęć, skądże ten nierozumny szał? Inne tu bóstwo złośliwe odgrywa dziś rolę „Pana“ — to upiór przewrotu.

Obłęd strachu dziś panuje niepodzielnie w Niemczech, stał się zmorą partyi mieszczańskich. I doprawdy, jest jakaś analogia pomiędzy przestraszonem stadem baranów a tym zbiorem okazów z rodzaju „philister vulgaris“. Jednych przyprawia strach o kołowaciznę, więc kręcą się dokoła swej osi, siląc się na wynajdywanie maleńkich środeczków w rodzaju rozmaitych kas, stowarzyszeń i innych instytucyi chwalebnych, które mają zapobiedz „rewolucyi“, innych wpędza strach w bagienko reakcyi, w trzęsawisko praw wyjątkowych. Komizm tej sceny powiększa to, że mieszczaństwo, to dumne mieszczaństwo niemieckie, które niegdyś zgniotło pychę „Raubritterów“, nie zdobywa się już z własnych sił na jakąś akcyę polityczną. Jak legawiec w oczy szczwaczy wpatruje się ono w sfery rządzące i czeka skinienia, by z wielkiem ujadaniem i niezrównanem kręceniem ogona rzucić się na upiór czerwony, który je strachem przejmuje, ale to ujadanie szybko przechodzi w skomlenie i pisk, i legawiec zziajany pada u nóg pana.

Tak stało się i teraz. Po raz, zdaje się, trzeci rozległa się pobudka do wyprawy na czerwonych i od miesiąca prasa mieszczańska niemiecka zrobiła sobie przyjemność ujadania. Sypią się projekty praw wyjątkowych i niechybnych środków, mających zmieść wyklętą socyalną demokracyę. Hammerstein, Stöcker, napis „wielbłądzi“, wszystko to mało obchodzi tę sferę poszczutą na upiór czerwony. W końcu cała ta heca jest jedynie śmieszną i socyalnodemokratyczna prasa ma zupełną słuszność, traktując cały ten paroksyzm wściekłości i strachu ironiczną pogardą; ma słuszność, bo do akcyi politycznej, któraby mogła przeciwstawić stronnictwu robotniczemu poważne siły, brak zupełnie ludzi. Czyż może ją rozpocząć stronictwo, które zniosło, aby taki opryszek, jak Hammerstein, stał na czele, pomimo, że w sferach wpływowych tegoż stronnictwa dawno wiedziano o jego łajdactwach? Czyż takie stronnictwo wogóle jest zdolne do czegoś więcej, jak do intryg dworskich? A może „nationalliberali“, to stronnictwo, w którego szeregach są ludzie, co w roku 48 byli czerwonymi republikanami? Ci ludzie pod biczem księcia o miedzianem czole stali się tak potulni, że liżą rękę, która chłoszcze, byle jeść dała. A może pan Stumm i jego przyjaciele będą tymi ludźmi przyszłości? Rola polityczna tego pana skończyła się bezpowrotnie blamażem podczas ostatniej kampanii antiprzewrotowej. „Bourgeois“ tego pokroju jest poważną osobistością, dopóki wyrabia scyzoryki i nożyczki, ale gdy wzywa do oręża, nadaje się do — wodewilu. A może centrum? Ta partya, walcząca za „prawdę, wolność i prawo“ pod wodzą Windthorsta nauczyła się kupczyć zasadami, nie stało jego, i nawet handel już nie idzie. O panu Ahlwarcie nikt nie pomyśli przecież. Panowie Mirbach lub Kardorf bardzo dobrze nadają się do krzykliwej agitacyi bimetalistycznej i nic więcej, — a w polityce nie robi się wielkich rzeczy za pomocą maluczkich idei. A więc — a więc góra i tym razem porodzi mysz. Cała ta wrzawa umilknie jak powstała, stwierdzając raz jeszcze, że nawa państwowa niemiecka nie ma żadnego kursu, pomimo ciągłych nowych kursów. „*Ordre, contre-ordre, désordre*“, — oto koło, w którem się kręci wszystko. A rezaltatem tego, — bezład, bezrząd, czczość, nuda i wieczny strach paniczny.

Cóż jednakże było powodem tego zamieszania, tego szamotania się, które widzimy od miesiąca? „Kto i gdzie zagroził nożem?“ Nic — to tylko upiory, to tylko żarty złośliwego Pana. Powiadają, że zachowanie się partyi robotniczej było takie, że wywołać musiało jakiś wybuch namiętności. Przeczymy temu. Postępowanie to od lat dwudziestu pięciu nie zmieniło się w niczem. Jeżeli weźmiemy do ręki uwagi poświęcone obchodom Sedańskim w dawnych rocznikach prasy demokratycznej, znajdziemy tam zupełnie to samo, co teraz stanowisko. Trzeba bowiem przyznać, że, jakkolwiek zapatrywać się będziemy na partyę demokratów socyalnych w Niemczech, nie można jej przecież odmówić konsekwencyi a przytem otwartości. Z natury swojej nie jest ona zdolną do obłudnej polityki Hammersteinów i Stöckerów, więc występuje z otwartą przyłbicą, jak na mężów przystało. Przyznał jej to przecież największy wróg, książę Bismarck. Kiedy po jego dymisyi prasa gadzinowa przez niego utuczona, żądła przeciw niemu zwróciła, — „Vorwärts“ wystąpił z godnością i spokojem, który tak zaimponował księciu, że powiedział: „tylko prasa demokratów socyalnych ma u nas odwagę“. To samo powtórzyło się teraz i przyznać należy, że w ogólnej degringoladzie ten ironiczny, zimny spokój takiego organu jak „Vorwärts“ imponuje. Jakiś dowcipniś opowiadał, że Japończycy przy zawarciu pokoju chcą zażądać reorganizacyi armii chińskiej, bo „nie ma się z kim bić“. Socyaldemokraci mogliby to samo powiedzieć o swoich przeciwnikach.

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

(Pokój Wandy — chwilę po wyjściu dzieci).

WANDA (*wbiega, rzuca się na krzesło wyczerpana z łkaniem*).

Nie mogę! nie mogę dłużej! Jak ja je uczę? Jak? A ta praca codzienna mnie zabija! Ach, jeżeli coś robić, to inaczej! Są przecie rzeczy, których człowiek uczynić *nie może!* Siły moje leżą odłogiem... Nie uczynię nic w tej pracy! A ona jest podstawową! konieczną! Uświadomić ciemną masę... Oświecić ją... dać jej pojęcie swych interesów, a przytem swego człowieczeństwa, by nie dzika horda męczonych zwierząt lecz ludzie dopominali się o swe prawa!... (*gwałtownie*) Lecz to nie moje, nie moje przeznaczenie! Mnie budzić sumienie tych, którzy oświecać lud mają! Oświecać „oświeconych“! Zwoływać do codziennej pracy szeregowców społecznych! Inicyatywa! Pieśnią bohaterstwa wstrząsnąć senne sumienia. Do mnie pieśń należy! (*idzie do fortepianu z podniesioną twarzą*). Pieśń bohaterską chcę stworzyć i rzucić ją śpiącym bohaterom (*uderza kilka akordów w takt marszu, urywa*). Na co to? Puste dźwięki! One mają własność zabijania, nie wskrzeszania ludzi!... (*zakrywa twarz rękoma*). A jednak ja nie żyję życiem prawdziwem i pełnem, odkąd zaparłam sie swej potęgi! Gdybyż to zaparcie pozwoliło mi rozwinąć tyle energii i zdolności w obranej pracy, co w rzuconej!... Lecz tu na nieustanną czujność buntującej się woli, na ustawiczne hamowanie krzyku gwałtu mej istoty zużywa się jej tyle, że pracy się jej prawie nie dostaje nic... (*wzburzona, trze czoło*). I gdyby ta praca miała większe skutki! Oświata warstw wyższych, podstawa jutra przełomu!... Lecz tutaj, gdzie tu oświecenie jest wielkim wysiłkiem niewielu tylko jednostek, nie prostym wynikiem społecznych urządzeń... i gdzie praca nad rozwidnianiem ciemnych mózgów odbywa się z tak ogromnym trudem, z tak potwornem niebezpieczeństwem, z tak nieproporcyonalnym wydatkiem pojedyńczych energii, wyniki są tak nędzne!... Bo je głuszy nietylko okrutna, ostateczna walka o byt, lecz i straszny ucisk zewnętrzny, a ogranicza jeszcze ogólna prawie obojętność klas uprzywilejowanych... Gdzie potrzeba cierpliwości wielbłąda przy ofiarności anioła, ja... ja staję do pracy w braku spokojnych, wytrwałych wykonawców; ja, niezdolna do pracy codziennej, rwąca się w niej jak waryat w żelaznym kaftanie; ja, organizacya twórcza, przeznaczona tem samem do inicyatywy i uogólniania dążeń, nie do zastosowywania cudzej myśli! (*gwałtownie*). Ja mam swoją myśl! Cudzą karmić się, cudzą wprowadzać w życie nie umiem! Ci, którzy stwarzać nie mogą, niech myśl krystalizują w życie!... Program rzucić, tego wymagać odemnie można! Inni dają pracę rąk swoich, ja duszę swą całą oddaję! Czy to jeszcze mało? Ha! tylko im myśli mojej, ni twórczości nie potrzeba! (*gorzko*) Ha, ha! Moja gra trucizną!... Kazio! Leon! Dla czego to mówili? Trucizną im nie była moja muzyka, lecz odczucie niepokonanej potęgi w kobiecie, którą oni, męczyźni, ujarzmić chcieli! (*szyderczo*) Władcy!... ha, ha! I oni myślą, że zniosę jakiekolwiek nad sobą panowanie? I czyje, czyje? Jednego z nich, jednego z nich, jednego z tysiąca!... (*z zapałem*) Tylko dusza duszy panować może, potęga potędze! (*dumnie*) Niech się znajdzie kto, kto mnie w proch upokorzy swą wewnętrzną wielkością i mocą, a upadnę przed nim na kolana! (*z gniewn*

I znowu powtórzyć należy: „wszystko co jest, jest rozumne“. To ustosunkowanie się sił partyjnych ma swoją przyczynę, jest nieuniknioną konsekwencyą społecznego rozwoju. Rozwój ten doprowadził z konieczności do zabagnienia dawnych haseł politycznych. Pod jego wpływem rycerz feodalny zmienił się w kupczącego agrarczyka, „bourgeois“, który przed stu laty podniósł sztandar z hasłem „wolność i równość“, zamienił się w „narodowo-liberalnego“ kramarza lub antisemickiego krzykacza, i pod wpływem tego rozwoju społecznego partya robotnicza występuje z nowem hasłem, nowemi ideałami i świeżemi siłami. Tu bądź co bądź młodzieńczą świeżość, a ztamtąd zapach zalatuje grobów.

J. B. M.

Przegląd prasy polskiej.

W sprawie godności dziennikarskiej, poruszonej przez nas w nr. 40, zabiera także głos „Gazeta Toruńska“ i solidaryzując się z wywodami „Dziennika“ i „Przeglądu“, takie opowiada zdarzenie:

„Pewien młody dziennikarz skarżył się na wyraźną niechęć sfer, którym dotąd niczem się nie naraził.

— Oni ci nie ufają — odpowiada znawca miejscowych stosunków.

— Jak mnie poznają, będą z pewnością życzliwi.

— Bynajmniej! Jeżeli chcesz, aby ci wierzyli, popełń wobec nich jakie łajdactwo, sprzeniewierz co, albo sfałszuj weksel na niską sumę, podpisując którego z nich, a potem przyznaj się do winy.

— To mnie oddadzą prokuratoryi.

— Przeciwnie, osłonią cię i ufać ci będą bez granic, wiedząc, że nie będziesz się im opierał z obawy, aby nie odkryli publicznie twych sprawek“.

Wszakże to ładny obrazek — naszej zgnilizny!“

—

„Gazeta Opolska“ pisze w nr. 79:

„Ambona stała się wczoraj, w niedzielę, jako na schyłku starego ćwierćrocza w niektórych parafiach górnoszląskich widownią agitacyi politycznej, zamiast być miejscem, z którego padać winno urodzajne słowo boże. Tak w N. Piekarach wystąpił znany już ks. kap. Abramski w niebywały i niegodny powagi kapłańskiej sposób przeciw „Katolikowi“, „Gazecie Opol.“ i „Nowinom“, wskutek czego w parafii wre, jak wiemy na pewno, straszne rozgoryczenie. Gdzie indziej wystąpiono przeciw „Gaz. Opol.“ wprawdzie nie wręcz, ale pod „kwiatkiem“, również w niegodny sposób.

Tylko w jednej poblizkiej parafii powiedział ks. proboszcz (prywatnie, nie z ambony), że nie zgadza się wprawdzie na kierunek narodowo-polski „Gaz. Opol.“, ale przyznać musi, iż „Gazeta“ pomimo to katolickich spraw, jak sprawozdawca się wyraził, „dobrze się dzierży“. Ks. proboszcz ten, choć przeciwnik, ale przecież szlachetny przeciwnik. Szanujemy nietylko stan duchowny, ale szanujemy nawet tak uczciwie wyrażających się przeciwników. Natomiast ubolewamy nad tem, że tu i tam polityka dostaje się na ambonę, gdyż dowodnie przekonujemy się, iż to ludu od czytania nie odstrasza, tylko go w wysokim stopniu drażni. Lud i tak czytać nie przestanie, bo wie, że walka z niemieckimi przeciwnikami nie jest skierowaną przeciwko duchowieństwu, ale że ma na celu obronę nigdy nie przedawnionych praw ludu. Gazety polsko-katolickie doznają zaprawdę gorszego traktowania, jak gazety masońsko-liberalne.“

—

W tej samej sprawie donoszą „Gazecie Opolskiej“ (nr. 80) z Popielewa następujące szczegóły:

„Miły Redaktorze! Nie możemy tego zamilczeć, cośmy wczoraj (w niedzielę) za kazanie słyszeli od naszego wielebnego ks proboszcza (pana Fararza) Nerlicha. I tak od wtorku aż do piątku był nasz ks. proboszcz we Wrocławiu na ćwiczeniach, wskutek czego wczoraj w niedzielę 29, nas nauczał, co tam słyszał. Począł więc okrutnie hałasować na „Gazetę“ a potem na „Katolika“; mówił, że „Gazeta“ krzyczała jeno: Szmula! Szmula! Szmula! po trzykroć, a „Katolika“ (to mówił) raz czytałem, ale już nie będę, bo to są Poznaniaki; ci chcą pieniądze zarobić, bo to jest bardzo dobry zarobek. (!!) Oni by was chcieli do Poznania przyciągnąć, toby wam potem wasze role wykupywali, a innym sprzedawali, jak tam robią. Ale nasze stosunki są wcale inne jak na Poznańskiem, bo Śląsko od 600 lat nie było polskie, więc to nie nasi ludzie. Sobieski też nie był nasz. (!!) Ale ja sobie myślałem: Gdyby nie król Sobieski, kto wie, coby dzisiaj w Szląsku było, gdyż dzielny ten król polski pobił Turków pod Wiedniem, przez których nietylko Polacy i Niemcy, ale cała Europa była zagrożona. Dziwny jest ten nasz ks. proboszcz (pan Fararz). Jak był nowy kościół zbudowany, tak nam ks proboszcz powiedział: „Nowy kościół, to też będą nowe porządki!“ I tak się też stało, bo nam się w święta bardzo zmieniło. I tak w pierwsze święto łacina, w drugie niemczyzna, a ludzie wszyscy za błazna! Każdy otwiera gębę do szeroka, a nie wie co robić, śpiewać nie potrafi, modlić się nie może, bo przeszkadzają, a każdy do domu wraca niewesoły, jak dawniej bywało. jeno smutny, a w kościele porządek to do podziwienia!! Nie ma żadem gazety czytać, jeno „Kuryera górn.“, bo na jego czele stoi ksiądz, a tylko księży mamy słuchać!“

—

Lwowskie „Czasopismo akademickie“ poświęca w numerze październikowym następujące uwagi galicyjskim wyborom:

„Każdy, kto interesował się wyborami w kraju naszym i równocześnie przeglądał dzienniki postępowe, nie mógł nie zwrócić uwagi na to, że w okręgach wiejskich, w kuryi małej własności, wybory odbywały się pod presyą władz politycznych. W ciągu ubiegłego miesiąca nie było dnia, którýby nie przyniósł wiadomości o zakazach zgromadzeń przedwyborczych, o niedopuszczeniu do nich pewnych ludzi, rozporządzających nieco większą odwagą cywilną, o przeprowadzeniu prawyborów w niewłaściwym terminie, lub o aresztowaniach prawyborców i wyborców. A trzeba dodać, że inicyatywa takiego postępowania nie wychodziła od rządu, ale od społeczeństwa, że twórcami takiego systemu nie są posłuszni urzędnicy, lecz niezawiśli, nieraz na świeczniku stojący obywatele, którzy bez wahania poświęcają prawo interesom stronnictwa i klasy, a zarzucając ludowi galicyjskiemu niechęć do autonomii i parlamentaryzmu, robią parodyę.

Z presyą i teroryzmem szło w parze przekupstwo. Nie pomógł zbiorowy list pasterski wszystkich biskupów, potępiający wymownie nadużycia wyborcze — najpoważniejsi posłowie, przedstawiciele opinii kraju i kierownicy jego spraw najżywotniejszych, uważali zdobywanie mandatów pieniędzmi za rzecz zupełnie naturalną. Nie cofnęli się przed praktykami, demoralizującemi włościanina stokroć bardziej, niż wszelkie najbardziej przewrotne agitacye i ani na chwilę nie pomyśleli o tem, że przekupstwo plami zarówno tego, który bierze, jak i tego, który daje...

Wobec tego wszystkiego my, młodzież, nie możemy pozostać obojętnymi i milczącymi, nie możemy wypowiedzenia naszych przekonań odłożyć aż do chwili, w której ustawa powoła nas do udziału w życiu politycznem, — nie możemy nawet, jak to zrazu było naszym zamiarem, sami tylko z sobą podzielić się smutnemi spostrzeżeniami. My zabieramy głos, aby przed całem społeczeństwem polskiem wyspowiadać się z naszego bólu.

W zastępach tych, którzy wykonywaniem największych praw politycznych pogardzili jak niepotrzebną stratą czasu, — w zastępach tych, którzy w jakikolwiek sposób poniewierali najcenniejszemi skarbami obywateli: swobodą słowa i swobodą głosowania, są ludzie, których my przywykliśmy szanować, są powagi naukowe, od których pragnęliśmy się uczyć, są mężowie stanu, na których dotychczasową działalność publiczną patrzyliśmy z czcią i na niej chcieliśmy wzorować.

To też boli nas, powtarzamy, stokrotnie boli to lekceważenie i maskowanie solidarnością, lub interesem narodowym, poniewieranie praw, które niedługo mają być naszemi prawami.

A jeśli owi, których my uważamy za winnych takiego stanu rzeczy, powiedzą nam, że młodzi „smarkacze“ nie powinni się mięszać do tego, co robią starsi, my mamy odpowiedź gotową. My im powiemy jednę prawdę, może krwawą: Pamiętajcie, że was niedługo zabraknie, a na wasze miejsca przyjdziemy my, kształcące się obecnie pokolenie, — a my prawo pojmować będziemy jako rzecz obowiązującą i świętą i nie pozwolimy go lekceważyć. Pamiętajcie, że my po was przyjdziemy i będziemy musieli naprawić to złe, które wy nam zostawicie. A jeśli tych naprawek będzie za wiele, dobędzie się z piersi naszych i popłynie wtedy już może na groby bolesna skarga i gorzki wyrzut. Czy wy pragniecie tej skargi i tego wyrzutu?“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Staroczeska „Morawska Orlice“ zamieszcza następującą korespondencyę z Cieszyna:

„Tutejsi Niemcy mają dotychczas nadzieję, że gimnazyum polskie tego roku nie będzie otwarte. To najciekawsze, że liczą teraz na pomoc z Galicyi od tamtejszej władzy szkolnej. Starania deputowanego miasta Cieszyna, pana Haasego, okazały się bezskutecznemi. Nadaremno starał się on wraz innymi posłami lewicy, aby ministerstwo usposobić dla gimnazyum niechętnie. Rząd widząc, że nie ma żadnych danych, aby otworzeniu gimnazyum przeszkodzić, dał zezwolenie. Wówczas chwycono się innych środków. Stawiano różne wymagania co do rozmiaru sal szkolnych, ale że tym wymaganiom uczyniono zadość, więc i te środki nie poskutkowały. Przed kilku miesiącami sądzili tutejsi Niemcy, że „Macierz Szkolna“ nie zdobędzie sił z odpowiedniemi kwalifikacyami, ale to zawiodło. Dziś się oka-

---

wzgardą) Lecz oni!... Niech uciekają od mej gry, lecz ja grać będę. Jeżeli się lękają szwanku dla swej płaskiej równowagi, jeżeli dla swych strusich skrzydeł obawiają się ognia mojej myśli, niech uciekają, drepcąc jak strusie! Ja grać będę i myśleć, a jeżeli się zaprę swej siły, to nie dla codziennej pracy wykonawcy, lecz dla potężnego ruchu, którego będę wodzem! (*słońce mrąc, zalewa ją i fortepian*). Ogrom cierpień i wewnętrznej męki wygrać, bunt natury ludzkiej i hasło bojowe. A potem walczyć, walczyć wściekle, by zmiażdżyć ogrom ogólnych katuszy! To moje przeznaczenie! (*uderza gwałtownie kilka akordów, urywa; — z bólem*) Gdyby jak dawniej skupić się i grać. Lecz chaos we mnie i wokoło mnie, memu rozdrażnionemu uchu schwycić się nie daje! (*z rozpaczą*) Ja już nie umiem tworzyć!... (*nienawistnie*) Ludzie, coście ze mną uczynili! (*gwałtownie*) Więc zabiliście duszę duszy mojej? Więc macie to, coście chcieli! (*gorzko*) To nie oni! to moje własne rozbite sumienie; to niepokój i walka najgłębszych mych, indywidualnych popędów z koniecznością etyczną wobec ukropnych, palących zagadnień czasu. To wątpliwości w rdzeniu mej natury tkwiące... A gdy się wpatrzę w niezliczone i naglące potrzeby, z których każda zdaje się ręce wyciągać do mnie, mam gwałtowny wyrzut sumienia i okropny ból niemocy, że ja jedna nie mogę dźwignąć świata! (*z gorącym bólem*) A kto go dźwignie?... Miliony rąk bezczynnych, lecz te ręce nie chcą pracować! Miliony dusz pustych, lecz te dusze nie dadzą swej nudy i czczości wypełnić poczuciem społecznego obowiązku: to niebezpieczne!... Czyby miliony wysłać było można na męki Sybiru, gdyby miliony były jednym „przestępcą“! Więc w społeczeństwie, w którem wszystko, nawet ono samo, staje na przeszkodzie skupieniu się siły zbiorowej, w którem żyje i rozwija się nikczemny i dziecinny egoizm jednostkowy i zupełna nieświadomość, że on jest występnym, gdzie ci, którzy procować powinni, gniją w dobrobycie materyalnym i duchowem niechlujstwie, kto podejmuje się zadania tysięcy ludzi? Ci, którzy stać powinni u steru, nieliczna garstka widzów zbiorowej pracy! Jak w źle zorganizowanem lub upadłem gospodarstwie, ludzie zaprzęgają się do pługa, bo zwierzat pociągowych nie ma!... W takiem społeczeństwie *ja* prowadzę szkółki ukryte, a za niedołęztwo i zbrodniczą obojętność ogółu geniusze myśli i czynu giną wśród Czukczów i Jakutów. A gdyby rzucili nieodpowiednią paszę, coby się stało?... Leżałaby odłogiem! Wśród bankierów, pewnych swego kapitału, fabrykantów, nie obawiających się, by krzywdy mas zwróciły się przeciw nim i w czasie strejku udających się do zbrojnej, wrogiej pomocy; wśród mas średniozamożnych, podających dłoń tyranii piorunowaniem na głuchy bunt uciśnionych; wśród tłumu uległego niewoli, pozwalającego ciemiężyć się, naigrawać się z siebie kałmuckiemu knutowi, odbierać sobie wszelkie prawa człowiecze, bez wewnętrznego już nawet protestu i bez szemrania, i przeklinającego tych, którzy haňbiącego jarzma znieść nie mogą... wśród patryotów o zacieśnionych mózgach, których oburza ruska pieśń swobody, i wśród arystokracyi, patrzącej ze wzgardą małp na tytaniczne wysiłki ludzi, i grającej w karty z dostojnikami łapaczów i żandarmeryi... Wśród tej całej wstrętnej zgrai sytych i dziko spokojnych, ludzie stworzeni do szerokiej działalności durzą się w ciasnych zakresach czynu, wyczerpując się przedwcześnie; orły łamią sobie skrzydła, ciągnąc pług społeczny pod lornetkami wołów bezczynnych; bohaterskie dusze giną męczeńsko za czyny, które w normalnych warunkach są powszednim pyłem życia, a które tu, jako niedościgłe, są marzeniem istnień całych i pożerają całe istnienia. W takiem społeczeństwie ja... ja czuję się zobowiązaną do dręczącej pracy każdego dnia i powierzchni myśli! Bo kiedy mam sumienie, muszę mieć sumienie i za tych, którzy go nie mają, za setki! I pracować za tych, którzy nie pracują, za setki!

zało, że szkolne władze galicyjskie stawiają przeszkody nauczycielom gimnazyalnym w sprawie przesiedlenia się do Cieszyna. Przeszkody te ztąd powstały, iż brak w Galicyi nauczycieli szkół średnich, więc władza nie chce pozbawienia się sił nauczycielskich.

„W tutejszych kołach polskich sądzą atoli, że się powiedzie wyjednać owo pozwolenie i w tym celu podjęli usiłowania posłowie szląscy ks. Świeży, dr. Michejda i Ciencioła.

„Nie byłoby to do darowania, gdyby z tego powodu nie zostało gimnazyum otwarte.

* * *

Zagrzebska „Hrvatska“, główny organ stronnictwa prawa, pisze z powodu otwarcia „Domu Narodnego“ w Prinjo:

„Idea stronnictwa prawa, idea Chorwacyi swobodnej całej i zjednoczonej przywiodła swoich wyznawców na wspaniałą uroczystość otwarcia „Narodnego Domu“. Jednogłośnie przyjęto statut o organizacyi stronnictwa prawa.

„Statut ten nie zostanie martwem słowem na papierze, ale wniknie on głęboko w serce każdego z członków. Liczne zebranie obywatelstwa świadczyło, że i my tutaj nie sprzeniewierzyliśmy się idei czystego chorwactwa.

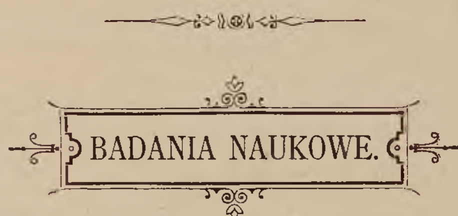
„Zarząd wydał z okazyi tej uroczystości taką odezwę: Ktokolwiek ma i czuje w sobie miłość choć najsłabszą dla naszego hasła: „Za Boga i Chorwacyę“! niechaj nie staje się głuchym na nasze wołanie! Ażeby narodowi naszemu dopomódz nie pozostaje nam nic innego, jak zgromadzić się w jeden szyk wielkiego stronnictwa prawa, które na swoim sztandarze wypisało wyraźnie te słowa: Bog i Hrvati! Na ostatniem zebraniu stronnictwa prawa, w którem brało udział 700 przedstawicieli różnych miejscowości kraju naszego, powiedziano sobie: Będziemy bronić wiary świętej i chorwackiej ojczyzny. Stańmy więc w jednym szeregu, chorwaccy bracia, aby nas żadna potęga złamać nie mogła. Z tego powodu wezwaliśmy was dnia 23 września do domu brata Prpića, ażeby się porozumieć co do utworzenia klubu, który ma być skrzydłem wielkiego stronnictwa, wiodącego do jedności i swobody pod sztandarem: Bog i Hrvati. Zarząd stanowią: Milan Pavlović, Petąs Sabljak, Iwan Prpić, Miroslav Babić“.

„Ze wszystkich okolic przybyli Chorwaci na uroczystość, z Jercerany, Stajnicy, Krispocja a nawet od Setinaca i Kriviputa!

„Zasługuje na uznanie, że licznie stawiło się duchowieństwo.

„Ze wszystkiem mamy w klubie 30 członków, ale cieszymy się nadzieją, że ich będzie więcej. Po wyczerpaniu porządku dziennego zabawiliśmy się miłą pogawędką, jako istotni bracia i rzetelni Chorwaci. Zrobiliśmy przełom, ufamy silnie, że klub nasz nie będzie istniał na papierze, ale żył i działał dla dobra naszej miłej ojczyzny, Chorwacyi. Bog i Hrvati!“

D. K.



Ludwik Pasteur.

W świeżo zmarłym Ludwiku Pasteurze traci nietylko Francya, ale świat cały jednego z najznakomitszych lekarzy i wielkich zasług przyrodnika. Szersza atoli publiczność łączy jego nazwisko wyjątkowo prawie z nowożytną metodą szczepienia ochronnego przeciw rozmaitym chorobom zakaźnym. W rzeczywistości też był on w ostatnim okresie swego ruchliwego życia przedewszystkiem lekarzem. Kiedy w r. 1884 dnia 10 sierpnia wygłosił Pasteur w Kopenhadze wobec najznakomitszych lekarzy i w obecności pary królewskiej swój głośny odczyt p. t. „O mikrobach chorobonośnych i o szczepieniu ochronnem“, stał ten mały o przenikliwych a przyjaznych, okularami nie uzbrojonych oczach, o krótko ostrzyżonej, szpakowatej brodzie, na szczycie sławy, na którym pozostał aż do śmierci. Prelegent, podawszy w odczycie swoim krótki przebieg historyi nauki o chorobonośnych drobnych ustrojach, doszedł w krótkiem, niemal suchem przedstawieniu kwestyi do zdania sprawy z swych spostrzeżeń o zaledwie zapoczątkowanem przezeń szczepieniu ochronnem przeciw wściekliźnie. Odczyt swój zakończył on szeregiem relacyi, zdanych w sprawie wścieklizny przez komisyę, złożoną z najznakomitszych fizyologów francuzkich, pomiędzy którymi także jaśniały nazwiska, jak Paweł Bert, Beclard, Vulpian i inni.

Wśród frenetycznych oklasków opuścił Pasteur trybunę, wszyscy byli przekonani, że komunikat jego wnosi w dziedzinę medycyny środek nieobliczalnej doniosłości, że Pasteur wzbogacił biologię i patalogię szeregiem najświetniejszych odkryć.

Dziwne to jednak zjawisko, że człowiek ten, któremu medycyna tyle zawdzięcza i który poczynił tyle zasług na polu badań nad grzybami najniższemi oraz nad najmniejszemi organizmami, znajdującymi się na granicy świata zwierzęcego i roślinnego, otwierając uczonym nowe zupełnie dziedziny pracy, nie był nigdy ani botanikiem ani zoologiem, ani lekarzem, lecz pierwotnie poświęcił się był chemii. Rozpoczął od doświadczeń fizykalnych i chemicznych, a odkrycia tam poczynione doprowadziły go stopniowo do zawiłych problematów biologicznych, i przy ich to badaniach zakończył on swoją karyerę. Pasteur nie należy do wielkich filozofów praw przyrody, którzy jak Galileusz, Newton, Goethe, R. Mayer, Helmholz ogarniali całość problematów natury, ale nie można go także zaliczyć do tego niemałego szeregu szczęśliwych odkrywców, którzy jednem lub dwoma szczęśliwemi odkryciami wielkiej doniosłości nieśmiertelną zyskali sławę, zdobytą niemal bez trudu. Zajmuje on raczej środek pomiędzy jednymi a drugimi; sukcesy jego były bowiem owocem niezwykłej bystrości umysłu, szczególniejszego uzdolnienia do przeprowadzania doświadczeń oraz niestrudzonej pilności. Biograf Pasteur'a, jego zięć Walery Radot, przytacza w swej pracy pt. „M. Pasteur, Histoire d'un savant par un ignorant“ (P. historya uczonego, przez laika), interesujący, pilności tej dotyczący szczegół. Jeszcze w kolegium w Besançon, w którem 18-letni wówczas Pasteur należał do najlepszych uczniów, budził go codziennie o 4 rano służący szkolny słowami: „Wstawaj pan, panie Pasteur; trzeba odepchnąć od siebie demona lenistwa“. Tą niestrudzoną wytrwałością odznaczał się Pasteur do końca starości.

Syn żołnierza z czasów pierwszego cesarstwa, który po wojnach napoleońskich oddał się garbarstwu, ale który syna już od najwcześniejszych jego lat przeznaczył dla zawodu naukowego i żadnej na cele wychowawcze nie szczędził ofiary, przeszedł młody Pasteur kursa w kolegiach w Arbois i Besançon i wstąpił w 21 roku życia po zdaniu świetnego egzaminu do słynnej „Szkoły normalnej“ w Paryżu. Tutaj słuchał wykładów wielkiego chemika Jana Baptysty Dumasa, oraz odkrywcy bromu, Balarda, i oddawał się niestrudzenie próbom doświadczalnym razem z asystentem Dumasa Barruelem.

W chemii doświadczalnej miał więc tutaj znakomitą szkołę. Tutaj też kiełkowało najdonośniejsze może pod względem wartości wewnętrznej odkrycie. Za inicyatywą słynnego chemika berlińskiego Eilharda Mitscherlicha, zajęła się akademia berlińska badaniem soli sodowych i amoniakowych, ich dziwnego zachowania się wobec światła polaryzowanego. Kwas winny tworzy bowiem z sodą (natrium) i amoniakiem po dwa gatunki soli jednej i tej samej jakości chemicznej, których kryształy zupełnie są do siebie podobne, zarówno pod względem zewnętrznym jako też w optycznych swych osiach. Jeżeli jednak wystawimy rozczyny jednego gatunku na światło polaryzowane, to płaszczyzny polaryzacyjne kręciły się na prawo,

---

(*Wchodzi Leon*).

WANDA (*zrywa się*).

Pan tutaj?!

LEON (*wzdrygając się*).

Nie wiedziałem, że mi to niewolno. Przepraszam! (*cofa się ku drzwiom*).

WANDA (*biegnie ku niemu i bierze go za ręce*).

Panie Leonie, co za szaleństwo! Ależ jam bardzo, bardzo panu rada.

LEON (*ściskając jej rękę*).

Myślałem, że mnie pani znać już nie chcesz; zresztą przyszedłem w interesie pani... ostrzedz ją, byś się miała na baczności. Dowiedziałem się, że są na tropie twej szkółki ukrytej i że cię mają na oku... (*gniewnie*) Dla czego się pani narażasz?...

WANDA (*wzrusza ramionami*).

Nie ja jedna.

LEON.

Niech to robią inni, szaleńcy.

WANDA (*śmieje się*).

Więc masz mnie za trzeźwą? Myśl, że podkopuję dzisiejszy stan rzeczy, że narażając się, przyczyniam się dzisiaj do rozwalenia tyranii, jest mi dźwignią w pracy.

LEON.

Dziwny instynkt awanturniczy! (*z bólem*) A, gdybym był wiedział!... (*gniewnie*) Dla czego na drodze legalnej nic uczynić nie chcesz?

WANDA.

Bo na niej dziś już nic uczynić nie można, i — bom dzieckiem całkowitej swobody, całkowitej myśli i czynu!

LEON (*po chwili*).

Widujesz ludzi?

WANDA.

Pewien ich gatunek.

LEON (*szyderczo*).

Gatunek twój!

WANDA (*poważnie*).

Nie, jam jedna!...

LEON (*porywczo*).

Lecz i ci ludzie popychają cię w ognie niebezpieczeństwa!

WANDA (*podnosi głowę*).

Ja ich prowadzę!

LEON (*rozdrażniony*).

Gdzie, czem?

WANDA.

Wielką ideą społecznego i indywidualnego wyswobodzenia człowieka.

LEON (*szyderczo*).

Marzycielko! Entuzyastko, trwoniąca swą energię na tworzenie fantazyi i widziadeł. Zamiast ograniczyć swe działanie, chcesz objąć świat cały i nie obejmujesz nic. Wstrząsasz bezcelowo duszami ludzi i to ci daje wrażenie bohaterstwa! Nasyć wprzód głodnych, on twego raju myśli i swobody nie pragną!

WANDA (*zrywa się*).

Co pan pleciesz? Pan...

LEON.

Dziwisz się pani?... Nam chodzi o pracę konkretną, o konkretne jej wyniki, nie o marzenia! Gdy pani dawniej mówiłem o pracy społecznej... (*urywa*) nie wiem, com mówił, lecz powiem, co teraz myślę; rozumiem ją jako legalną i pożyteczną pracę, podnoszącą dobrobyt krajowy. Te twoje wielkie idee na nic się nie zdadzą. Bądź pani doktorem, fabrykantem lub siostrą miłosierdzia, niech praca twoja da coś, z czego korzystać będą mogli wszyscy, nie jakiś przysmak dla wybrednych dusz. Wynajduj pani sposoby ułatwiające życie, stwórz nowe gałęzie przemysłu, rób co chcesz, jak umiesz, byleby twa praca była legalną i dotykalną, natychmiast znajdującą zastosowanie praktyczne!

WANDA.

Ha, ha!

LEON (*dotknięty*).

Śmiej się pani, śmiej!... A nam nie po-

inne zaś na światło polaryzowane wcale niereagowały.

Pierwszą grupę nazwano tartratami, drugą zaś paratartratami. Pasteur przypuszczał z góry, że ostatnia grupa nie może być pod względem chemicznym albo przynajmniej pod względem kryształów zupełnie równą w grupie pierwszej. Udało mu się też znaleść te różnice. Uradowany swem odkryciem, pobiegł do Biota i powtórzył eksperyment swój w jego kuchni; stary Biot, ujrzawszy w polaryraturze naoczny dowód słuszności hipotezy Pasteura, uchwycił go za rękę, mówiąc wzruszony: „Moje dziecko, przez całe życie tak kochałem naukę, że na widok tego serce bije mi z radości“. Po niejakim czasie przedstawił Biot pupila swego profesorowi Mitscherlichowi w Berlinie następującemi słowy: „Możesz się, młody przyjacielu, pochlubić, żeś dokonał wielkiego dzieła, jeżeliś odkrył to, co się nie udało takiemu oto mężowi“. Mitscherlich przyjął go z uznaniem, ale powiedział, że czyniąc doświadczenia owemi solami, które on, Mitscherlich, zbadał jak najdokładniej, kierował się jakąś z góry powziętą ideą.

Po owem odkryciu, dotyczącem kryształów kwasu winnego, nastąpiły inne, dotyczące ciał organicznych. Do nieśmiertelnych zasług Pasteura zalicza się przedewszystkiem epokowe jego odkrycie w sprawie fermentacyi. Najwięksi chemicy: Liebig, Gay Lussac, Berzelini daremnie zajmowali się zagadką fermentacyi, która z mączki, słodu i cukru wytwarza kwas węglowy i alkohol.

Helmholz zbliżył się przy końcu czwartego dziesiątka lat w laboratoryum Magnusa do tego odkrycia, dokonał go atoli dopiero Pasteur. Jego studyom nad piwem, winem i octem zawdzięczamy przekonanie, że istnieje właśnie pewien rodzaj grzybów, wywołujących każdą z tych fermentacyi, oraz inny rodzaj grzybków, wywołujących fermentacyę kwasu mlecznego i maślanego.

Piwowarstwo i cała industrya, dotycząca fermentacyi, otrzymały dopiero przez Pasteura podstawę naukową. Dalsze jego odkrycie, że przy pewnych temperaturach proces fermentacyjny się przerywa, ponieważ grzybki tylko w pewnej temperaturze rozwijać się mogą, doprowadziło do tak zwanego pasteuryzowania napojów alkoholicznych, t. j. nadawania im trwałości na długi przeciąg czasu. Ale ponieważ Pasteur uznał i procesy gnicia za skutek działania niskich roślinnych organizmów, które dla życia swego potrzebują odpowiedniego gruntu oraz pewnych temperatur, które poniżej lub powyżej pewnego ciepła istnieć nie mogą i które zabijają pewne materye chemiczne, stał się przeto właściwym odkrywcą stworzonego następnie przez Lictera a przez chirurgów stosowanego przeciwgnijnego opatrywania ran.

Drugim wielkim czynem Pasteura było odkrycie szczepienia ochronnego przeciw zapaleniu śledziony. Bakterye choroby tej odkryli już w r. 1853 Davaine i Rayer, Koch zaś odkrył ich sposób wegetacyi i udzielania się zwierzętom, atoli dopiero Pasteur nietylko postawił w r. 1877 pewnik, że chorobę śledziony można przenosić za pomocą szczepienia, ale znalazł także metodę osłabiania zarazka i ochronienia za pomocą takiego osłabionego zarazka zdrowych zwierząt od choroby.

Ostatniem ogniwem w łańcuchu tych odkryć, których zasługa należy się wyłącznie Pasteurowi, są wyniki jego badań nad wodowstrętem. Ziomkowie Pasteura umożliwili mu stworzenie osobnego instytutu, w którym uczony ten mógł badania swoje prowadzić dalej, a gdzie uczniowie jego, śród których najwybitniejszym jest dr. Roux, metody jego rozwijają dalej. Jeżeli się rozważy, że Pasteur już w r. 1868 rażony był apopleksyą, to podziwiać należy jego olbrzymie poświęcenie się dla celów naukowych, jego wielki pod tym względem idealizm. Wogóle był Pasteur naturą idealną, nawet marzycielską. Interesującemi są jego zapatrywania religijne. W mowie na cześć Litre'go, którego uwielbiał, choć nie podzielał pozytywistycznych jego przekonań, powiedział on pomiędzy innemi:

„Dopóki na myśli ludzkiej ciężyć będzie tajemnica nieskończoności, dopóty stawiać będą świątynie kultowi nieskończoności, czy Bóg ten nazywać się będzie Allah, Brahma czy Jezus; idea bóstwa jest formą idei nieskończoności. Gdzie są prawdziwe źródła nowożytnej wolności i demokracyi, jeżeli nie w pojęciu nieskończoności, wobec której wszyscy ludzie są równi“. Pasteur gorąco kochał swoją ojczyznę, ale i ludzkość całą, bo nie rozumiał miłości ojczyzny bez umiłowania ludzkości. Był zwolennikiem spirytualizmu — bo materyalizm nie dostarczył dotychczas ścisłego dowodu, że życie i myśl są produktami sił władających materyą.



Wrażenia z Cieszyna.

II.

Wyrzutem dla rady miejskiej jest także uliczka, gdzie się mieszczą pralnie, — brudna, woniejąca, gdzie domy stoją nad niby kanalikiem, od którego poprostu trzeba uciekać. A jakie oświetlenie! Nie skłamię, gdy powiem, że na porządnych nawet ulicach trzeba miejscami iść po omacku.

To są szare strony, jakie mogłem niejako z lotu ptaka zauważyć. Nie mówię już, czy nasze dziewczęta polskie mają się gdzie uczyć, czy stosunki Mojżeszów do prowadzonego ludu są bez zarzutu, czy ruch narodowy w mieście jest większym niż ongi, i jeśli przypadkiem jest, czy to zasługa kierowników? A o mieszczanach zazwyczaj wszyscy piszący mówią, że nie są wyzyskani dla ruchu polskiego. Co do mnie, mogę powiedzieć tylko tyle, że spotkałem wielką tępość i zacofanie pojęć, z drugiej zaś strony zapytywani przezemnie mieszczanie nie umieli mi dać odpowiedzi, czem są w istocie. Austryak, Szlązak, Polak — wszystko to częstokroć mięszało się w jedno pojęcie, z którego powoli dochodziłem do wniosku, że mam do czynienia z początkującem uświadomieniem się polskości. A znawcy mówią, że to uświadomienie coraz szersze przyjmie rozmiary, sięgnie niemal do całej ludności Cieszyna, która, jak powiadają, nie ma prawdziwych Niemców, jeno zgermanizowanych Polaków. O ile w tem prawdy, nie wiem, bo o takiej rzeczy wnioskować mogą tylko ci, którzy tam żyją stale. Ale zdanie to wydaje mi się w pewnej przynajmniej części być słusznem.

Wyżej postawiłem pytanie, czy ruch w mieście, o ile jest, należy zaliczyć do zasług przodowników? Postawiłem je dla tego, że spotkałem w Cieszynie kilka jednostek, nie przodujących i nie zgadzających się z kierunkiem działalności forpoczty inteligencyi, a jednak ruchliwych, gorących i energicznych.

Ale przejdźmy, a raczej pojedźmy do Ligotki, miejscowości o kilka kilometrów tylko odległej od Cieszyna, w której znajdziemy małą stacyę klimatyczną. Pociąga nas tam wiadomość o zabawie ludowej.

Młodzież, która w roku bieżącym ukończyła seminaryum, urządziła wycieczkę w góry, a o godzinie 6 wróciła do Ligotki na ową zabawę. Mowa, deklamacya, śpiewy i tańce miały ją wypełnić. Ja patrzyłem, siła będzie tego ludu szląskiego, i oto do gospody weszło kilkanaście osób z Kongresówki, pamiętne o przewodnicy z pociechami, młodzież, kilku mieszczan i może parę wieśniaków. Reszta ludu, może 30, maximum 40 osób, przyglądała się przez drzwi i okna.

Nie krytykuję mowy, co prawda bardzo słabą polszczyzną wygłoszonej, boć były tam najlepsze chęci ze strony młodego seminarzysty, ale wyszło poniekąd, że nie Polska jest dębem, a Cieszyńskie jej gałęzią, lecz naopak.

Po mowie nastąpiły śpiewy, zbyt smętne

---

trzeba twojej „pracy“! To wszystko zabawka! Agitatorstwo jak muzyka! Grając, bawiłaś się; dziś, nurzając się w socyalistycznym, wrzącym prądzie, bawisz się znowu. Znowu ludzi porywasz chimerami twej wyobraźni! I oszukujesz, oszukiwać musisz! Ty zużywasz przyjemnie siłę przeważających w tobie zdolności, a ich gubisz... I siebie zgubisz, bo to zabawka niebezpieczna. Jeżeli chcesz rzeczywiście pracować, przełam twe naturalne popędy, każ zamilknąć twej hypnotyzującej bladze, nie bądź ogniem słomianym, zdobywającym się na dym i popiół tylko, nie pal się ciągle i nie zapalaj drugich, nie dawaj im złudzenia, żeś wielka i silna, gdyś tylko blagą. Bądź podobna do drugich, przestań być baletnicą z corps de balet'u twórczości, marzeń i abstrakcyi, wyprawiającą swe harce nad głodem mas i pracą ludzi uczciwych. Zamiast wirować w łamańcach przed lornetkami zdziwionych bałwochwalczych wodzów, kop ziemię, jak oni. To twój obowiązek.

WANDA (*hamując podnoszącą się w niej burzę*).

Czy znasz pan społeczną regułę: „brać według potrzeb, dawać według sił i uzdolnień?“

LEON.

Wzięłaś pani wiele, masz sił i uzdolnień za wiele; a co dajesz? Szampan dla pijaków zapału i myśli.

WANDA (*j. w.*)

Chcę dawać według sił i uzdolnień; przytem mam zdolności bardzo określone. Czy nie wiesz, na co mnie skazujesz? Na pracę przymusową, pracę wbrew uzdolnieniu; a ona jest okropną nędzą dnia dzisiejszego! A ona pochłania z podwójnym wysiłkiem energię, która w właściwym kierunku użyta, osiągnęłaby wyniki sto razy większe. A ona jest przyczyną tego okropnego marnowania się sił, rozkładu dusz i ciał, które się na każdym kroku spotyka, i na które spojrzeć nie można bez uczucia grozy, rozpaczy i bezsilnego, wściekłego buntu! Czy pan nie wiesz, że są urodzeni zapaleńcy jak kryminaliści z urodzenia, i że im kto wybitniejsze zdolności na świat przynosi, z tem większą trudnością przychodzi mu praca w drugim kierunku?

LEON (*szorstko*).

Nie chodzi o mękę dusz, lecz pracę rąk.

WANDA (*coraz żywiej*).

Pan myśleć nie umiesz, lub coś ci przeszkadza być sprawiedliwym i zmusza do obrzucania błotem wszystkiego, co ja cenię. Wiedz pan, że natura jest matką życia we wszystkich postaciach, i że, jeżeli one wszystkie istnieją, to mają wszystkie prawo bytu i rozwoju, i że ideałem społeczeństwa jest zużywanie sił składających je jednostek w sposób najodpowiedniejszy, więc najłatwiejszy, więc najbardziej natężony, i że rozkwit jego warunkuje się wszechstronnością pracy, promieniowaniem energii we wszystkich kierunkach. Możność rozwoju powinna być daną wszystkim zdolnościom, wszystkim temperamentom! Więc pan nie wiesz, że jest pożyteczność pośrednia jak i bezpośrednia? Że złożoność coraz większa życia, duszy i pracy pociąga za sobą złożoność i różnorodność potrzeb, zatem to, co te nowe potrzeby zaspakaja, jest pożytecznem, że więc nietylko ci opłacają swe istnienie, którzy doraźnie i praktycznie przysługują się ludzkości, lecz i ci, którzy na pozór pracują bez celu. Cóż to za dzika wzgarda dla szczytów rozwoju, panie Leonie! Cóż to za barbarzyńskie przekreślenie ducha w życiu!...

LEON.

To pani go przeceniasz, to pani podporządkowujesz mu wszystko!...

(Dokończenie nastąpi).

i nadto niewyraźne, — potem deklamacya pieśni Garczyńskiego „Śmierć młodzieńca na Syberyi“. Ja myślę, wkradłem się jak złodziej w głowy tej garstki ludu, chcąc poznać, co on myśli i czuje. I otom widział z ich twarzy, że pragną się czegoś dowiedzieć, że nie są obojętni na słowa Polak i Polska, znać było, że to już słyszeli, ale zarazem, że to ich już nie zajmuje, — bo nie ma w tem nic nowego. Zdało mi się, że chcieliby nieco więcej, że posłuchaliby chętnie, gdyby im mówiono coś szerszego i pozytywniejszego o tejże polsko-szląskiej łączności i o tej ojczyźnie, do której wracają. Mniej jeszcze wrażenia wywarła deklamacya i śpiew dla bardzo prostej przyczyny, ponieważ ich nie rozumiano. Śpiewka niewyraźna, deklamacya za górnolotna. Jedyna rzecz, która ich zabawiła, to śpiew na cztery głosy „Dziad i baba“, bo i sens tego zrozumiały i wykonanie było niezłe. Na tańcach nie byłem, bo miałem dość tej niby ludowej zabawy. Była to po prostu komedyjka, zarządzona przez panów przodowników, a wykonana przez młodzież z seminaryum dla okazania panom i paniom warszawskim ruchu (nie wiem czy przodowników?) i rozwoju patryotyzmu śród Szlązaków. Warszawiaków, spragnionych wolnego słowa, można zadowolić lada świecidełkiem patryotycznem. Biedni więźniowie tak się stęsknili za słońcem, że każdy promyk wprawia ich w ekstazę i wszystko za dobrą przyjmują monetę. Ale podług mnie stracono kilka godzin zupełnie na próżno, a ponieważ ta zabawa według objaśnień tamtejszych jest mniej więcej typową, przeto na tem polu przodownicy dla polskości bardzo małe osięgają zyski. Wolałbym, aby kto z młodzieży palnął krótką, zwięzłą a jędrną mówkę, a potem parę popularnych piosenek narodowych, parę wesołych śpiewek i wierszyków i dalej do tańca, aby tylko pociągnąć ów lud, bo o to idzie, a nie o pochwalenie się przed Warszawiakami. Dziwię się tylko, że młodzież owa, która — o ile z nią mówiłem — jest sympatyczną, całem sercem polską, a i pod względem głowy nie ostatnią, okazuje tak mało samodzielności i niewolniczo idzie za przodownikami dla tego jedynie, że są nimi. W ten sposób działając nie dochodzi się do wielkich rezultatów. To też znalazłem bardzo dużo słabej wegetacyi, potknąłem się i o ruiny, a w wielu miejscach widziałem wyglądające niedbalstwo.

Może gimnazyum cieszyńskie pobudzi do ruchu uśpione jednostki i „Macierz“ nasza, której praca teraz poniekąd dopiero się zacznie, wleje świeżą i zdrowszą krew w żyły słabo naprzód kroczącego Cieszyna. A czas naprawdę wielki! W pracy społecznej i narodowej spóźniliśmy się nieco. Musim się spieszyć, bo dużo jeszcze przed nami pola, leżącego odłogiem. Interesa nasze za długo ugórowały, wiele miejsc zbyt już zarosło, a przeto każda niewyzyskana okoliczność, każda godzina stracona jak owa zabawa cieszyńska, jest więcej niż przewinieniem.

Prasa polska powinna czujniejsze zwracać oko na działalność cieszyńską i piętnować każdą ospałość i zaniedbanie.

Podobno w Cieszynie prócz kapitału „Macierzy“ są jeszcze inne. Ile ich jest, nie wiem dobrze, ale jeśli są, działać powinny.

W końcu nadmieniamy raz jeszcze, że prócz owej niby wielkiej pracy przodowników znalazłem kilka jednostek cichych i nienarzucających się na przywódzców, które jednak pracują radykalniej. A zdaje mi się, że i socyaliści polscy, znudzeni żółwiem Cieszyna kroczeniem, chcą mu dopomódz do żwawszego stąpania.

Warszawianin.

Praca kobieca.

Wystawa poznańska zamknięta, tegoroczny salon letni świeci pustkami, a na tak ludny niedawno plac między dwiema bramami dążą ci tylko, którzy okazy swej pracy z pawilonów wycofać pragną. I oto właśnie nadeszła pora ostatecznych obrachunków, zestawienia zysków i strat, porównania korzyści, jakie wystawa przynieść nam miała i tych, jakie przyniosła istotnie. Towarzystwo starych przemysłowców ogłasza konkurs na broszurę, mającą temat ten rozwinąć i wyczerpnąć. Nie czuję się na siłach stanąć do konkursu, nie zamierzam również przedwczesnemi i na niczem nieopartemi wnioskami treści broszury przesądzać. Na razie interesuje mnie tylko pewien dział wystawy — dział dość ciasny i drugorzędny — lecz w ciągu sezonu wystawowego obsypywany gradem pochwał, wysławiany nieproporcyonalnie szumnemi panegirykami i podniesiony do niebotycznego znaczenia. Mówię o wystawie pracy kobiecej. „Jak niegdyś Chrzanowska ocaliła Trembowlę, tak dziś pracowite dłonie pań naszych przyczyniły się niemało do podniesienia znaczenia naszego na wystawie“ — tak przynajmniej twierdził jeden z dzienników poznańskich. Temu dość śmiałemu zresztą porównaniu zarzucićby można między innemi i to, że bohaterstwo Chrzanowskiej przyniosło i jej i krajowi pewne korzyści, Trembowla dzięki jemu nie dostała się pod rządy Turcyi, ani Chrzanowska do sułtańskiego haremu, czy jednak wystawa pracy pań naszych przyniosła również jakieś pozytywne, dodatnie rezultaty, tego dotychczas wiedzieć nie można i tego najpochlebniejsze nawet sprawozdania dziennikarskie nie dowiodły.

Do korzystnych wyników nie zaliczam bowiem bynajmniej owego gradu górnolotnych pochwał, które się z łamów naszej prasy do stóp ubóstwianych Wielkopolanek posypały, ani licznych wzmianek o babkach i prababkach, kapłankach znicza narodowego, których nam w żadnej epoce dziejów nie brakło. Przeciwnie objawy takiego bałwochwalczego obłędu uważam za rzecz niezmiernie szkodliwą, za symptomat choroby, która bardzo potężnie grasuje wśród naszego wielkopolskiego społeczeństwa, a którą nazywam narodowem samochwalstwem. Śmieszna ta epidemia, gdy się nad nią poważnie zastanowić, niezmiernie smutne budzi obawy, a wprost niesmakiem przejmuje, gdy spada na kobiety, które bardzo ważne w społeczeństwie naszem mają zadanie, a które od spełnienia go odwrócić może. Czytając to wszystko, co pod adresem pań naszych piszą miejscowe dzienniki, sądzić by można, że kobiety polskie stanęły u szczytu niewieściej doskonałości i z tego wysokiego stanowiska spoglądać mogą z politowaniem na kobiety narodów innych, które zaledwie wzrokiem do nich sięgnąć mogą. Wszakże jeden z sprawozdawców poznańskich wyraźnie twierdził, że wszystkie ujemne typy niewieście w naszej historyi były obcego pochodzenia, dodatnie natomiast na naszym wyrosły gruncie, zapominając przytem, że królowa Jadwiga była Węgierką a Barbara nie położyła żadnych zasług.

Tym panom jednak, którzy u nas z jakiejkolwiek okazyi o swych rodaczkach piszą, nie chodzi ani o historyczną prawdę, ani o pożytek społeczeństwa, chodzi jedynie o komplimenta. Rozumne kobiety śmieją się z nich, a nawet czują się urażone, pojmując, że t kie bezsensowne pochwały wprost je ośmieszają, jednakże mniej rozumne postawione na wysokiej kolumnie prowincyonalnej adoracyi dostają zawrotu głowy i łatwo uwierzyć mogą we własną doskonałość. W tem właśnie leży niebezpieczeństwo.

Gdyby zamiast hołdu bezwzględnego uczestniczki wystawy doznały objektywnej a sumiennej, choćby surowej krytyki, ten ich publiczny występ mógłby je naprowadzić na nowe drogi. Widząc błędy i niedostatki swej dotychczasowej działalności, pragnęłyby im zaradzić i skierować swą pracę na pola mniej wyzyskane a lepiej odpowiadające potrzebom społeczeństwa i naszemu ekonomicznemu położeniu. Wystawa byłaby dla nich sposobnością do obliczenia swych środków, przeglądem roboczych sił kobiecych,

---

KAZIMIERZ TETMAJER.

Rzeźbiarz Merten.

(Kontur do noweli.)

„Człowiek z takim, jak twój, talentem — pisał ojciec Juliusza Mertena — Bóg wie, jak wysoko stać już powinien. Masz lat dwadzieścia sześć, a w twoim wieku ludzie już mają pewny chleb w ręku. Taki Daliński niema ani połowy tego talentu, co ty, a zarabia do pięciu tysięcy rocznie, Wierzycki wziął teraz tysiąc dwieście reńskich za biust Goldsternowej. Jestem przekonany, że gdybyś chciał, mógłbyś dziś stać tak, jak oni, jeżeli nie lepiej. Staraj się bywać w porządnych towarzystwach, wyrabiaj sobie stosunki, korzystaj z tego, żem cię przedstawił księciu Konstantemu, on cię może zaprotegować. Bez protekcyi nic nie zrobisz, duma jest bardzo dobra, ale nie prowadzi w twojem położeniu do niczego. Trzeba się nagiąć do ludzi, bo inaczej nie można. Ja już jestem stary, stoję nad grobem, ale myśl o biednej matce, która się na śmierć zadręcza. Wiesz, że już pracować nie mogę dla niej i musisz ty teraz myśleć o jej egzystencyi. Pieniądze, któreś przysłał, dawno się wyczerpały i nie wiem nawet, jak sobie biedaczka radzi teraz. Weź do serca moje słowa, porzuć życie, jakie obecnie prowadzić musisz, pracuj, żyj z ludźmi, bo jeżeli ty o domu pamiętać nie będziesz, przyjdzie mnie skonać gdzieś na barłogu, a matce pójść rękę wyciągnąć. Nie dopuść-że do tego, jesteś przecie mężczyzną. Kocham cię z serca, ale żal mój do ciebie jest bardzo wielki. Ciągnąłem się dla ciebie do ostatniego, nie myślałem o zabezpieczeniu sobie spokojnej starości, ani matce bytu, aby tylko tobie ułatwić studya. Odwdzięczże się za to, rób, co możesz, bo ludzie wytykać cię będą palcami, jako złe dziecko, niewdzięczne i bez serca.

Twój ojciec

Ryszard.“

Drugi list, w tejże samej kopercie, od matki Juliusza brzmiał:

„Ukochane dziecko moje, umiłowanie ty moje serdeczne. Ojciec bardzo rozżalony na ciebie i rozdrażniony, łaje mnie i gniewa się ciągle. Musiał ci bardzo przykre rzeczy napisać. Nie bierz mu tego za złe, od kilku dni reumatyzm odjął mu zupełnie władzę w nogach i dokucza mu więcej, niż zwykle, a przytem stan nasz materyalny najfatalniejszy. Wyobraź sobie, że musiałam sprzedać, bo więcej dawali, niż w zastawie, ten złoty krzyżyk, który mi kupiłeś za pierwsze zarobione pieniądze. Gdyby nie to, od dwóch dni nie jedlibyśmy obiadu. Pojmujesz, jak mi było, kiedy musiałam z tym krzyżykiem pójść do Kaufmannowej. Myślałam, że mi serce pęknie. Nie będę ci nawet pisać o tem. Teraz nie mam już w domu nic ani do zastawienia, ani do sprzedania. Ojciec nie zna dokładnie stanu rzeczy, ale drżę na myśl, że będę mu musiała powiedzieć całą prawdę. Co dalej będzie, nie mam pojęcia i myśleć nawet o tem nie chcę. Dziś dwunasty, a dwudziestego przypada jedna rata wekslowa, dwudziestego drugiego druga; czy pamiętasz o tem, moje biedne, drogie dziecko? — Gospodarz przysłał już dwa razy za mieszkanie, odpowiadam mu, że czekam na pieniądze od ciebie i zgodził się do piętnastego zaczekać. Maryanna także niezapłacona już trzeci miesiąc prawie. Jeżeli możesz, pomyśl o nas koniecznie.

Nie uwierzysz, jak mi strasznie ciężko, że muszę się u ciebie dopominać o pieniądze, których sam masz tak mało, ale wszelkie próby, abym zarobić coś mogła, nie udały się. Nieszczęście nas prześladuje na każdym kroku. Doprawdy grzech to, ale czasem prawie przychodzi mi na myśl prosić Boga, aby tego nieszczęśliwego starca zabrał już do siebie, aby mu się nie dał już tak męczyć dłużej. Jeszcze mam na dwa dni na życie, potem nie wiem, co będzie? Zupełna otchłań pod nogami. Wszyscy się dziwią, że ty, taki zdolny, zarabiasz tak mało. Ja sama tego zrozumieć nie mogę. Czemu to?

punktem wyjścia do jakiejś organizacyi pracy niewieściej.

Obiecywano nam coś podobnego w chwili, gdy zawięzywał się komitet wystawowy pań naszych. Mówiono o zawiązaniu Towarzystwa opieki nad pracą kobiecą i niejedno serce już radowało się na myśl, że Wielkopolanki nasze rozwiną pożyteczną i gorliwą działalność w tak ważnej u nas ekonomicznej dziedzinie. Czy piękny ten projekt utonął w powodzi słodko mdlących panegiryków?

Niemki, z któremi tak lubimy na naszą korzyść się porównywać, mają jednak swój: „Frauenschutz“, a my o tyle od nich więcej warte, o tyle pracowitsze, praktyczniejsze — jak głoszą dziennikarze — czyż stworzyłyśmy dotychczas coś podobnego, lub czy zamierzamy stworzyć?

Z drugiej strony przyznać należy, że w samej organizacyi, w samym charakterze wystawy leżał błąd zasadniczy, który ją pozbawiał poważniejszego znaczenia. Słusznie sprawozdawca warszawskiego „Przeglądu tygodniowego“ ocenił, iż nie była ona wystawą przemysłu kobiecego, kobiecej pracy, lecz przeważnie wystawą robótek damskich. Znaczną część okazów składały przedmioty ładne lecz niepotrzebne. Nie były to ani dzieła sztuki, ani nawet sztuki do przemysłu stosowanej, ani też przemysłu samego, lecz po prostu różne mniejszych lub większych rozmiarów t. zw. „bibelots“, bardzo właściwe na imieninowe lub gwiazdkowe podarki, na pamiątki lub zabawki, kosztowne i pracowite wytwory delikatnych i pieszczonych rączek. Znaczenie tych okazów oceniać zresztą należy nietylko ze względu na ich wygląd zewnętrzny, lecz także na warunki w jakich zostały wykonane. Zupełnie nie podzielamy zachwytu pewnego dziennikarza, który z okazyi robót panien hrabianek M. takie wygłasza zdanie: „Nie wiadomo, co więcej podziwiać, czy artystyczną ich wartość, czy też zamiłowanie do pracy trudnej *nie wywołyvane potrzebą żadną*, lecz tylko wzniosłem pojmowaniem posłannictwa kobiety i chęcią pożytecznego zużycia czasu. Jak ż to piękny przykład dla innych!“ Nie można tego ganić hrabiankom, że nie umiejąc pożyteczniej czasu zapełnić, zajmują się wykonywaniem ładnych i trudnych robótek, nie można jednak utrzymywać ich w przekonaniu, że praca *trudna* jest przez to samo ważną, a wykonanie jej „*nie wywołane potrzebą żadną*“ świadczy „o wzniosłem pojęciu powołania kobiety“.

Powołanie kobiety w naszem społeczeństwie jest o wiele poważniejsze i nie spełnia się go należycie przez mozolne rzeźby na drzewie, choćby się nawet udało nie zrobić „ani jednej fałszywej linijki, ani jednej kreski za mało lub za wiele“. Obowiązkiem kobiet w naszem biednem, ekonomicznie wyczerpanem społeczeństwie, jest przedewszystkiem badać potrzeby narodu i skierować swą pracę w tę stronę, w której największą pozytywną korzyść przynieść może. Jest bardzo liczna kategorya mozolnych i trudnych robótek, których wykonywanie jest po prostu zbytkiem, trwonieniem czasu i pieniędzy i nic a nic nie przysparza zasobu materyalnego. Ileż to u nas pracy kobiecej idzie po prostu na marne, ile sił kobiecych trwoni się na zajęcia, których znaczenie ekonomiczne jest żadne lub prawie żadne!

Jeżeli n. p. pracowita panienka spędza całe dnie nad ozdobną robótką, gdy równie ładną i równie praktyczną kupić może taniej niż materyał potrzebny do wykonania jej własnej, wówczas, mimo całego mozołu powiedzieć można, iż czas trwoni bawiąc się kosztownie. Jeżeli tak zwana praktyczna gosposia wypełnia swą śpiżarnię słoikami konfitur, lub własną rączką przyprawia i piecze smaczne torty dla uczęstowania gości — podczas gdy mężowi braknie pieniędzy na opłacenie procentów, nie można pochwalić jej pracowitości, raczej zbytek potępiać należy. Takie fakty jednak w naszym kraju zdarzają się niezmiernie często, a zdarzają się właśnie dla tego, że kobietom naszym braknie znajomości najelementarniejszych ekonomicznych zasad i że pracą ich nie kieruje żadna rozumna organizacya.

Nie można winy zwalać na same kobiety, spada ona na ogół społeczeństwa naszego, spada przedewszystkiem na tych, którzy zamiast powołać swe rodaczki do wspólnej pracy, zamiast kształcić je i objaśniać, pochlebstwami je zbywają.

Nie twierdzę bynajmniej, aby nasze wielkopolskie kobiety nie poświęcały się również różnym korzystnym zawodom, aby pracą swoją do ogólnego dobrobytu zupełnie się nie przyczyniły. Nie mam na to dowodów, ale nie mam i dowodów przeciwnych, żałuję tylko, że tegoroczna wystawa w tym względzie mnie nie objaśniła. Nie sądzę, aby to było winą naszego kobiecego komitetu, przypuszczam raczej, iż wynikło to z ogólnej organizacyi wystawy, szkoda jednak, iż przy tej sposobności, jak i przy wielu innych u nas, zaznaczył się fatalny podział na damy i kobiety.

Dzięki temu podziałowi owoce *pracy* kobiecej utonęły i znikły wśród nagromadzonych okazów przemysłu, a ciekawa publiczność, zwiedzająca pawilony wystawowe, ujrzała głównie tylko rezultaty estetycznych i misternych zajęć, którym damy swe chwile wolne poświęcają.

Dzięki temu wreszcie wystawa tegoroczna w niczem nas naprzód nie posunęła i nie nauczyła nas niczego. Zawód, którego doznaliśmy, możnaby jednak powetować, gdyby zawiązało się istotnie owo zimą jeszcze zapowiedziane Stowarzyszenie opieki nad pracą kobiecą. Stowarzyszenie to połączyłoby naturalnie przy wspólnym warsztacie kobiety i damy, kładąc koniec zgubnej i nie licującej bynajmniej z duchem czasu kastowości, która tylko na takim gruncie jak nasza wielce zacofana dzielnica kwitnąć może. W stowarzyszeniu tem zogniskowaćby się powinny wszystkie rozstrzelone dotychczas siły robocze kobiecego świata. Pracownice różnej kategoryi i wszelkich zawodów powinny się w niem połączyć wspierając się wzajemnie, objaśniając, czerpiąc rady i wskazówki pożyteczne.

Wyszukiwanie pracy, zbieranie danych, dotyczących zarobków kobiecych w różnych zawodach, torowanie dróg nie wyzyskanych dotąd lub zaniedbanych, odkrywanie korzystnych rynków zbytu dla produktów kobiecego przemysłu, udzielanie młodym pracownicom wskazówek, w jakim kierunku najkorzystniej dla siebie pracować mogą, wreszcie udzielanie wsparcia tym, które wskutek wyjątkowych okoliczności lub nieszczęścia pozbawione są możności zarobienia na życie — oto główne zadanie tego rodzaju stowarzyszeń. Byłoby naturalnie pożądanem, aby Wielkopolanki w Poznaniu zamieszkałe z siostrami swemi z prowincyi jak najczęściej się komunikowały. Taka łączność i porozumiewanie się wzajemne pozwoliłyby jednym i drugim pożytecznie czas spędzać i lepiej wyzyskać otaczające okoliczności. Samo n. p. gospodarstwo kobiece stało się dziś ważną gałęzią gospodarstwa ogólnego, a niektórzy mężczyźni twierdzą nawet, że z tego względu nie powinno się go w rękach kobiet pozostawiać. Dla czegożby jednak i *gospodynie* nie miały gałęzi tej wyzyskać, jeśliby zamiast słuchać jedynie tradycyi i mieć na względzie wyłącznie swoje i swych domowników potrzeby, czerpały informacye z dobrego źródła i produkowały wyłącznie te wyroby, które nakład opłacają i które z czystym zyskiem spieniężyć można. A ileż to prócz gospodarstwa istnieje kierunków pracy umiejętnie i z ogólnem zadowoleniem uprawianych przez kobiety, ileż takich, które u nas wogóle odłogiem leżą lub w obcych pozostają rękach. Tego rodzaju brakom można niewątpliwie zaradzić, gdyby ktoś gorliwie zajął się ich notowaniem a Stowarzyszenie pracy kobiecej zadanie to podjąćby musiało.

Gdyby stowarzyszenie takie powstało, gdyby rozwinęło się tak, jak tego pragnąć należy, mogłoby zajść i dalej, mogłoby zorganizować kasy pożyczkowo-wkładkowe dla pracujących kobiet, bezpłatne biura, polecające pracę

W modlitwie jeszcze moja ostatnia pociecha, ostatnia otucha i nadzieja, może Bóg dobry zlituje się wreszcie nad nami i ześle nam lepszą dolę, temu biednemu starcowi nad grobem i tobie, mój najdroższy synu, ty wszystko moje. Ja już dla siebie nic nie chcę i wzięłabym wszystko złe na siebie, aby tylko wam było lepiej. Przecież Bóg jest dobry — nie wątpię w to, nie chcę zwątpić, nie mogę...

Zrób co się da, bo inaczej z głodu i na bruku pomrzeć nam chyba przyjdzie obojgu z ojcem. Ja opuścić go nie mogę, a z nim nawet do służby mnie nie przyjmą.

Kończę już, bo mi łzy zalewają oczy, błogosławię cię, tęsknię do ciebie i tak mi cię żal, tak żal, tak okropnie żal, moje ty najdroższe, biedne dziecko. Twoja matka.“

„Kochany Julku! — pisał tego samego dnia Daliński — nie odpowiedziałeś mi na ostatni mój list, ale jestem tak szczęśliwy, że chciałbym całemu światu o mojem szczęściu opowiedzieć, a że i ty jesteś cząstką świata — nawet artyści są ludźmi — więc choć tobie opowiem. Jesteśmy teraz z moją żonuchną, żonusienką, z moim żonusiem najdroższym we Florencyi. Nie masz pojęcia, jak tu cudownie! Samo słońce, słońce, słońce, a mnie się zdaje, że ono nie z nieba świeci, tylko z naszych serc, i że to nie jakieś światło w przestrzeni płonie i grzeje, tylko miłość nasza, szczęście nasze. Kwiatów tu w bród, zupełnie podobne do słów mojej żony i do jej pocałunków. Jest mi tak dobrze, tak dobrze, tak dobrze! Nie mogę zrozumieć, że może być komuś źle. Wiesz, że sprzedałem mojego Atlasa za dwa tysiące franków — kupił go jakiś stary markiz włoski — a teraz robię biust jakiejś rudej Amerykanki. Brzydka, jak piekło — ty byś nie robił tego za miliony — ale bogata, jak Mackay, czy Wanderbildt, bo już mówić, jak Krezus, wyszło z mody. Zażądałem pięć tysięcy franków i zaraz się głupie babsko zgodziło, choć byłbym za tysiąc pięćset zrobił. Obsypuje prezentami moją żonę, w której się kocha — kretyn tylko mógłby się w niej nie kochać — a te prezenty już ze trzy razy tyle warte, co ja za biust wezmę. Powiadam ci, sypie złotem, aż się źle robi. Powiada, że sprowadzi z Paryża swoje dwie siostrzenice — jeżeli takie same małpy bezogoniaste, to powinni we Florencyi ogród zoologiczny zaraz założyć — i także mam je portretować. Gotówem fortunę na tej babie zrobić. A wszystko to dzięki mojemu anielstwu, moim małym ślicznościom, w których się ten koczkodon zaatlantycki rozmiłował. Dobrze, że nie potrzebuję być zazdrosnym.

Powiadam ci, zrób tak, jak ja, ożeń się. Dopiero można być szczęśliwym naprawdę. A na świecie jest tak dużo, tak dużo, tak okropnie dużo szczęścia!... Twój

Karol Daliński.“

— Tak dużo, tak dużo, tak okropnie dużo szczęścia — powtórzył Juliusz Merten, i nagle stargawszy list w ręku, rzucił go na podłogę swojej pracowni i deptać począł z wściekłością.

— Bydlę! bydlę! przeklęte bydlę! — szeptał przez zaciśnięte wargi; po chwili jednak uspokoił się i myślał: — Czego ja od niego chcę? Cóż on temu winien, że jemu jest dobrze, a mnie jest źle? Ale i co ja jestem winien, że mnie jest źle i że im jest źle?...

— Można? — ozwał się nagle gruby głos za drzwiami pracowni.

— To ty, Krążel? — spytał Merten.

— Ja.

— Wejdź.

Wszedł Krążel, kolega Mertena, o rok od niego starszy, chłop z pochodzenia, co od razu poznać można było po rysach twarzy, rękach i budowie ciała. Z jednym tylko tym Krążlem Merten żył bliżej; zbliżało go do niego to, że obaj byli bardzo biedni, najbiedniejsi w całej majsterszuli. Tylko o ile Merten usiłował pozorami okryć swoją nędzę, o tyle Krążel nic sobie z niej nie robił, owszem, afiszował się z nią na każdym kroku.

— Cóż, ty szlachcicu? — rzekł, siadając na odwróconej dnem do góry pace od węgli — cóżeś ty taki zły?

— Nic. Miałem listy.

— Z domu?

— I z domu i od Karola Dalińskiego.

a zarazem udzielające informacyi i utrzymujące pewien rodzaj statystyki kobiecego przemysłu, wreszcie kiedyś, i to byłoby bardzo pożądanem, wydawać własny organ, z którego czerpaćby mogły pożyteczne wskazówki kobiety pracujące w gospodarstwie, przemyśle lub jakimkolwiek innym zawodzie.

Wszystko to rzeczy bardzo od nas dalekie, ale nie wkraczające bynajmniej w granice niemożliwości, gdyż istnieją one już gdzieindziej, stworzone przez te właśnie cudzoziemki, którym to nasze kobiety wszędzie i zawsze za wzór służyć mają. U nas, jeśli nie ma jeszcze tego rodzaju organizacyi, daje się jednak uczuwać jej potrzeba.

Z potrzeby tej zrodził się projekt rzucony jeszcze zeszłej zimy, czy zaś projekt w czyn się zamieni, na to odpowiedzą zapewne panie, które myśl tak piękną i zbawienną pierwsze poruszyć raczyły, co w każdym razie pozostanie ich ważną i niezaprzeczoną zasługą.

I. Moszczeńska.

JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

Student zaaresztowany przed paru laty jako przywódzca socyalistycznej partyi znikł tak bez śladu, iż brat pomimo usilnych i nieustających starań i próśb do władzy nie może się dotąd dowiedzieć, czy został powieszonym, czy też jest jeszcze przy życiu. Egzekucye są otoczone nieprzedartą zasłoną tajemnicy, odbywają się bez rozgłosu po więzieniach i jak ogólnie twierdzą, nigdzie, nawet w Petropawłowskiej fortecy nie wpisywane są w księgi, by nie pozostało po nich śladu. Tak łatwo znikają tam nieszczęśliwi więźniowie, tyle wody otacza tę smutną wyspę.

Trzeba przyznać Rosyanom, iż gdy chodzi o utrzymanie systemu państwowego, są niewzruszeni i nie bawią się w żarty. Zaaresztowano tu przed niedawnym czasem czterech oficerów z gwardyi, którzy korzystając ze swego stanowiska prowadzili nihilistyczną propagandę wśród podwładnych. Znaleziony bilecik dowodził, iż jedna z książek pisanych w duchu owej propagandy, a drukowana zagranicą, była pożyczoną jednemu z nich przez krewnego, sędziego pokoju, tu w Warszawie. Wzięto go więc natychmiast i badano, w jakim celu postarał się o tę książkę dla siebie. Odpowiedział, co było prawdą, że chciał ją przeczytać głównie przez ciekawość i że nie dzielił bynajmniej wyrażonych w niej poglądów. Czterech oficerów naturalnie rozstrzelano, ale co dziwniejsza to to, że sędzia pokoju został powieszonym.

System ten ma to w sobie doskonałego, że uniemożliwia, by próżność lub ambicya były pobudką politycznych przestępstw. Żadnemu z pism nie wolno jest wspomnieć nazwiska obwinionego, jako też omówić choćby słowem jego uwięzienia i towarzyszących temu okoliczności, a tem mniej przytoczyć tego, co on mógłby chcieć powiedzieć na swoją obronę. Znika cicho i bez rozgłosu i odtąd z nazwiskiem jego już nigdzie spotkać się nie można. Gdyby system podobny zastosowano we Włoszech i Francyi, z pewnością liczba anarchistów i morderców wybitniejszych osobistości zmniejszyłaby się tam znacznie. Nie da się jednak zaprzeczyć, iż ma on swoje przerażająco ciemne strony.

Nadzór nad zabronionemi książkami stał się w ostatnich czasach o wiele surowszym niż dawniej, niepodobna prawie się w nie zaopatrzyć. Żaden księgarz nie podejmie się dostarczyć podobnego dzieła, jakkolwiek wprzódy działo się to niemal codziennie; widzę np., iż ani jedna z książek wydanych przezemnie w językach obcych od czasu ostatniej mojej w tym kraju bytności nie przedostała się w granice Rosyi.

W szczególnem przeciwstawieniu do tego surowego systemu jest pełne grzeczności i dowodzące dobrego wychowania obejście rosyjskich oficerów. Myliłby się, ktoby myślał, że rosyjski gwardzista — w Warszawie konsystują tylko pułki gwardyi — przypomina choć trochę zarozumiałego, sztywnego i traktującego wszystkich z góry, pruskiego oficera. Wyszukana uprzejmość, nieledwie skromność i zachowanie się człowieka z najlepszego towarzystwa oto charakterystyczne jego cechy. Dwaj wyżsi wojskowi urzędnicy, którzy w skutek zajmowanych stanowisk najwięcej złego mogliby wyrządzić Polakom, szef żandarmeryi jenerał Brock i oberpolicmajster jenerał Kleigels lubiani są przez ludność polską. Jakkolwiek zmuszeni ściśle się stosować do rozporządzeń wyższej władzy, przedstawiają oni każdą sprawę w możliwie łagodnem oświetleniu, a gdy postępowanie ich podwładnych jest szorstkiem i brutalnem dzieje się to wbrew ich woli.

I nietylko wydatniejsze osobistości jak oni, ale wszyscy oficerowie nie mają skłonności do znęcania się nad Polakami, jako nad zabranym narodem, przeciwnie w postępowaniu z nimi starają się być bez zarzutu. Oto rażący tego przykład, który miał miejsce przed niedawnym czasem. Jeden z synów jenerał-gubernatora, oficer gwardyi, zobaczył u kolegi zabronioną książkę (Towarzystwo warszawskie) i spytał go, zkąd ją dostał, ten wymienił znaną tu firmę księgarską. Młody porucznik Hurko udał się do księgarza i zażądał owej książki. Odpowiedź brzmiała, że nie posiada jej, bo jest zabronioną. Czy nie mógłby mu jej sprowadzić? W zwykłych okolicznościach jest to surowo wzbronionem; dla syna jenerał-gubernatora zakaz ten zapewne nie istnieje, lecz gdyby wiedziano, iż się tego podjął, mógłby za to odpowiadać. Hurko nalegał, dając oficerskie słowo, iż nie nadużyje zaufania. W kilka tygodni później młody oficer był w posiadaniu książki i wydał księgarza, który mu ją dostarczył, poczem tenże podległ ciężkiej karze pieniężnej. Niezwłocznie koledzy Hurki podali prośbę do władzy o usunięcie go z ich liczby, w razie zaś odrzucenia ich żądania, jednomyślnie prosili wszyscy o dymisyą. Nie otrzymywali na to długo odpowiedzi, lecz gdy uparcie trwali przy swojem, porucznik Hurko został usuniętym z pułku, jakkolwiek jednocześnie przeniesionym do generalnego sztabu.

Listy zaczynają mię dochodzić zwolna, jakkolwiek w szczególnym porządku; przed paru dniami otrzymałem pisany 5-go sierpnia, dziś znów odbieram z dnia 27-go lipca, w każdym razie pocieszającem jest, że poczta stała się dla mnie łaskawszą. Czas najdokuczliwszych upałów, w czasie których główną pociechą dla nas była oświeżająca kąpiel prysznicowa w parku, już minął. Nie zdarzyło mi się wejść do tej kąpieli bez uprzytomnienia sobie pierwszego aktu Walkiryi, zbudowaną jest bowiem naokoło czterech potężnych pni drzew, które rosną najswobodniej w pośrod budynku, tak jak rosło owo wielkie, stare drzewo w domu matki Zygfryda. Temperatura dozwala teraz myśleć o wycieczkach w bliższe i dalsze okolice, by skorzystać z otrzymanych zaprosin. Używają tu zwykle do zaprzęgu czterech koni, dla złego stanu dróg, po których mniejsza ich liczba nie dałaby sobie rady z ciężkim powozem. Zaciekawiają mię te wycieczki, gdyż pomiędzy sąsiadami tutejszymi niemało niepospolitych kobiet i zajmujących a oryginalnych spotyka się ludzi.

III.

Mamy zatem dzisiaj odpust w tutejszym kościółku. Od rana słychać wciąż odgłos dzwonów, a lud napływa zewsząd falą obficie. Prze-

---

— Tej bestyi wiedzie się podobno archanielsko?

— Tak.

— Taki but! Nie mówię o tobie, ale nawet ja mam więcej talentu, niż on. Czy nie?

— Czy ja wiem? On sprzedaje, a my nie.

— To inna rzecz. A zresztą to nieprawda. Ja sprzedałem dziś dwie figurki à la Tanagra z terrakoty. Czemu ty takich nie robisz?

— Nie umiem.

— Prawda, żeś ty artysta i tylko artysta, a ja jestem i artysta i rzemieślnik. Ale ten Daliński, wierz mi, to tylko rzemieślnik. Tylko, że to sprytny mechanik!

— Wiem o tem.

— Słuchajże, cóż ci jednak jest?

— Żal mi, że nie jestem sam.

Krążel przetarł twarz swoją szeroką ręką.

— Rozumiem — rzekł — rozumiem. Wiesz, że ja sam nieraz jestem kontent, że moi starzy kopyta wyciągnęli pierwej, nim się ta mizerya zaczęła. Zawsze samemu lżej. Bieda tam, co?

Merten nic nie odpowiedział.

— I cóż ty myślisz? — mówił dalej Krążel.

— W łeb sobie palnąć — odrzekł Merten.

— Tak, toby było najradykalniej.

Milczeli chwilę, potem Krążel rzekł:

— Wiesz, kiedy tak patrzę na ciebie i na mnie, wiesz, do czego wydajemy mi się, ty i ja podobni? Oto do dwóch patyków wierzbowych, od pnia odciętych, które w ziemię wsadzono, ale je coraz więcej zasypują ziemią. Mimo, że podług porządku, nie mają prawa żyć, jako odcięte, jednak żyć mogą i żyć chcą, wsadzono je w grunt i puszczają gałązki zielone, ale zasypują je ziemią, która je głuszy i przygłuszy wreszcie. Skazane na zagładę, zginąć muszą, choćby żyć mogły. Może się źle tłómaczę, ale mnie rozumiesz, prawda?

— Rozumiem cię. Dla czego ty jednak masz ginąć? Co tobie staje na przeszkodzie? Jesteś sam i tylko o sobie myśleć musisz.

— Nie mam szczęścia. A zresztą, wiesz, ty jesteś za wielki pan na artystę, a ja jestem za ordynarny. Ty nie umiesz zarabiać, a ja, co ulepię, to takie ciężkie, że nawymyślałbym od psów, ktoby chciał to kupić. Za grubą mam, chłopską rękę. Wiesz co? — dodał po chwili — zacznijmy rzeźbić figury do kościołów po wsiach.

— Sprzedaż dwie na rok.

— I to prawda, albo i tyle nie. Niema co, muszą nas djabli wziąć. Niema szczęścia.

— Nieprawda! Nie, niema szczęścia! Szczęścia jest dużo, dużo, okropnie dużo!...

Milczeli długo, potem Krążel ozwał się:

— Merten, jadłeś ty dziś śniadanie?

— Nie.

— A na obiad masz?

— Mam wszystkiego dwie szóstki.

— A do zastawu co, do sprzedaży?

— Nic.

— Bo ja com za te tanagry wziął, to musiałem oddać Winklerowej za ostatni tydzień i goły jestem, jak święty turecki, a tak mi się żreć chce...

— Weź jedną szóstkę, leżą tam na stole. Jak chcesz, to weź dwie.

— A ty?

— Mnie się jeść nie chce. Mnie się już niczego na świecie nie chce, tylko odpocząć, raz odpocząć. Weźże, nie rób komedyi.

— Wezmę, bo mi aż coś w kiszkach skręca. Za te tanagry dali tak mało, ledwie, że Winklerowa się zgodziła poczekać na resztę. Będą dwa serdele, dwie bułki i papieros. Masz ty co palić?

— Nie.

— Wiesz ty, Merten, przecieby Pan Bóg bardzo źle zrobił, gdyby takiemu, jak ty, pozwolił zginąć.

Merten uśmiechnął się.

— Cóż, czy ty, Krążel, wierzysz jeszcze w to, że jest coś, co ci na co pozwala, albo nie pozwala, co się miesza do ciebie?

(Ciąg dalszy nastąpi.)

kupnie pobudowali na prędce wokoło kościoła budy i stragany, na których porozkładano różne świętości: obrazki, różańce, krzyżyki, jako też tanie zabawki dla dzieci, wszystko to tak niewypowiedzianie nędzne, że nie wiem, czy znalazłby się pomiędzy tem choć jeden przedmiot wart więcej niż kilka groszy. Przerażającym jest po prostu widok świętych obrazów, porozwieszanych dla zachęcenia publiczności u okapu jakiejś wielkiej starej szopy. Są to oleodruki z najszkaradniejszych i najbardziej pozbawionych gustu i talentu obrazów, bluźnierczych wprost w swoich przedstawieniach słodziutkich Maryi i napomadowanych Chrystusów. Przyjrzawszy się bliżej tym bohomazom, dostrzegamy ze zdziwieniem na większości ich napis New Jork. A więc to niestrudzeni Yankesi, jako prawi protestanci, zajmują się po tamtej stronie Oceanu fabrykacyą setek tysięcy świętych obrazów dla katolików tu w Europie, by na tem grosz gruby zarobić. Cóż dziwnego w takim razie, że są tak okropne! Oleodruk z najbardziej mdlącego Carlo Dolci zrobiłby jeszcze po nich bardzo przyjemne wrażenie.

Kościół przepełniony po brzegi, drzwi otwarte na roścież, a tłum mężczyzn i kobiet ciśnie się do nich, by choć coś usłyszeć z kazania, dalej na całym cmentarzu grupy ludzi stojących, siedzących i klęczących w skupieniu z odkrytemi głowami. W koło siedzą, wyciągając do przechodniów z żałośną prośbą ręce, żebracy, którzy w liczbie osiemnastu przybyli tu krytym wozem, same wstrętne kaleki, obraz tych, na których przed wieki syn człowieczy cudów dokonywał. Mularz miejscowy, który właśnie przedsięwziął naprawę kościoła, wzniósł po nad nim dla wykazania swej pobożności coś w rodzaju kapliczki, opatrzonej dużym krzyżem drewnianym, która jest czemś okropnem w swoim rodzaju.

Poczucie smaku i piękna wygasło zupełnie u tutejszego ludu: za dawnych czasów było inaczej! Jakże ładnym i pełnym wdzięku był jego strój narodowy, którego używania zabraniają tak surowo Rosyanie! Jak oryginalnem są dziś jeszcze biała, naszywana czerwonem sukmana galicyjskiego włościanina i jego pilśniowy kapelusz. Tu chłop nosi szkaradny kaszkiet na głowie a ubranie bez żadnego fasonu i charakteru, podczas gdy kobiety i dziewczęta, pozbawione swego pełnego wdzięku ludowego kostyumu, stroją się z upodobaniem w tandetę o jaskrawych barwach.

Spacerują one sobie wzdłuż straganów, przypatrując się z ciekawością rozłożonym przedmiotom, targując to lub owo, kupując bułkę, obwarzanek lub trochę przygotowanych na sprzedaż, mimo zakazu, owoców. Widać ztąd, że i tu, jak i gdzieindziej, owoc zakazany ma zawsze pewien urok. W jednej z bud rozdają bezpłatnie od dworu butelki z przegotowaną wodą, zaprawioną odrobiną pieprzowej mięty, soku lub mięty dla smaku, która to woda, wbrew oczekiwaniu, podobała się ogromnie publiczności.

Panie nasze, pomimo strasznego upału i nieznośnej z powodu ścisku atmosfery, parę godzin już wytrzymały w swych ławkach w kościele, my mężczyźni przyszliśmy na końcu dopiero, by być na tak zwanej „sumie“. Pstrym i różnobarwnym był widok, który się przedstawił oczom naszym z pobliża ołtarza. Tuż poza odprawiającym mszę duchownym zgromadziło się lepsze towarzystwo: panie, mieszkanki okolicznych dworów, niektóre z mężami, przybrane odświętnie, których uwaga przy modlitwie nie zbudowała mnie zbytecznie, dalej włościanie i mężczyźni, kobiety i dzieci, głowa koło głowy, ile ich kościół mógł pomieścić, w szczególnem oświetleniu, jakie tworzył blask świec zmieszany z dziennem światłem. Wszędzie białe, żółte, różowe nakrycia głów, pomiędzy któremi odbijały rażącym kontrastem ciemne, opalone, męzkie brodate twarze. Po nad tym tłumem zaś na klęczkach, to podnoszącym się, to znów pochylającym głowy, by upaść na kolana, gnącym się jak kłosy dojrzałe za powiewem wiatru na polu, dźwięczała pieśń kościelna z końca X wieku, jeden z najstarszych zabytków języka polskiego: proste jej słowa obijały się o sklepienie kościoła: „Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny. Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie“. Pochodzi ona z czasów, gdy Polska po raz pierwszy została nawiedzoną przez dżumę, przy obecnie zaś szerzącej się epidemii nabrała znaczenia aktualności.

Kazanie było niezłe, wpajało w serca wiernych, że nie na ćwiczeniach pobożnych i chodzeniu do kościoła powinna polegać pobożność prawdziwa, lecz na życiu cnotliwem, postępowaniu według słów pisma św., natomiast odprawiający mszę księżulek ze swym przygasłym wzrokiem i olbrzymią tuszą był wysoce komicznym; łacina w ustach jego brzmiała jakoś z chłopska, dziwacznie. Wszystko w kościele, co tylko miało związek ze sztuką: malowidła na ścianach, obrazy na chorągwiach, chwiejących się po nad głowami zebranych, — było pozbawione gustu i ohydne, ładnie wyglądały tylko świeże dekoracye z zieleni i kwiatów na filarach, jako też olbrzymie kwitnące oleandry w wazonach około ołtarza. Nasz ksiądz nie potrzebował dziś mieć ani kazania, ani odprawiać nabożeństwa, był gospodarzem i najbardziej go zajmował obiad na 40 osób, który miał być danym po ukończeniu religijnych ceremonii. Patrząc na klęczącego wraz z innymi przed ołtarzem, odgadywałem jego myśli. Nie mówi on nigdy o swoich przekonaniach religijnych, lecz z niektórych jego powiedzeń wnoszę, iż musi on mniej więcej dzielić nasze; dzieje się to przeważnie z młodymi księżmi, wyjeżdżającymi na dokończenie nauk do Rzymu. Pobyt tam więcej jest korzystnym dla ich rozwoju, niż dla umocnienia ich w wierze. Najgoretszą wiarę znajdujemy u księży, co wprost z polskich seminaryów spieszą obejmować stanowiska w parafiach. Dzisiejszy dzień był ogromnie wyczerpujący dla biednych księżulków; do spowiedzi mianowicie zgłosiło się ni mniej, ni więcej jak 400 włościan, a spowiadających było tylko 13; upadali wprost ze znużenia. Pokrzepiali się też potem szczerze po przebytych trudach, przy obiedzie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA BERLIŃSKA.

Berlin, d. 5-go października.

(Po feryach. — Ze zjazdu niemieckich lekarzy i przyrodników. — Wycieczka w sferę metafizyki. — Prasa a skandal Panamy berlińskiej. — Ze sceny. — Sztuka Hirschfelda i Jakobowskiego. — Zapowiedziane nowości.)

Skończyły się piękne dni pracowitego próżniactwa, czem dla każdego z nas są ferye, i rozpoczyna się sezon pracy na seryo. We wszystkich członkach organizmu społecznego krew zaczyna żywiej tętnić, muszkuły silniej działać, a mózg, jakby zważony gorącem lata, odzyskuje sprężystość i siłę.

Do kategoryi pracowitego próżniactwa należą kongresy, które z reguły także w porze letniej się odbywają; słaba linia demaskacyjna dzieli tam sensacye nerwowe. Skutki przyjemnych uczt, spotkań, nawiązania stosunków osobistych od poważnych rachunków sumienia naukowego czy polityczno-społecznego. Z kongresów naukowych, które się odbyły w ciągu lata, znaczenie dla szerszych warstw inteligencyi może posiadać tylko sześćdziesiąty siódmy zjazd przyrodników i lekarzy niemieckich, odbyty w Lubece. Znaczenie to nie polega w pierwszej linii na wykładach fachowych lub na sprawozdaniu *prof. Behringa*, który wobec najkompetentniejszych sędziów mógł skonstatować tryumf swojego wynalazku surowicy leczniczej, zmniejszającej śmiertelność przy dyfteryi o 50 i więcej procent, tudzież zapowiedzieć nowe odkrycia, mające wyruszyć do boju z najstraszniejszymi lasecznikami gruźlicy i cholery. Jak długo ostatni wynalazek pozostaje w sferze obietnic, tak długo może wywoływać co najwyżej pobożne westchnienie. Znaczenie kongresu charakteryzuje się faktem, iż wobec świata naukowego została rzuconą rękawica całemu dotąd panującemu poglądowi przyrodniczo-filozoficznemu na wszechświat. Profesor chemii z Lipska, *dr. Oswald* wygłosił odczyt „Przeciw materyalizmowi naukowemu“, w którym zrywa z mechanizmem atomów, z substratem materyi, z jedynym zatem przez naukę przyjmowanym dotąd substratem naszych wrażeń. Neguje on wogóle byt materyi; to, co zmysły nasze nam przynoszą, to są tylko jakościowo różne formy energii, która doskonale się obchodzi bez podścieliska atomów. Prof. *Oswald* opiera swoje rozumowania na całym szeregu dowodów i przykładów matematyczno-fizykalnych i w rezultacie zamiast panującego poglądu materyalistycznego (o znaczeniu sprowadzania zjawisk do mechanizmu materyi) propaguje teoryą energetyczną.

Odczyt nowego tego rewolucyonisty powinien niebawem wyjść z druku i dostać się w ręce wszystkich, którzy mają zmysł dla roztrząsań metafizycznych. Jest on charakterystycznym przyczynkiem do psychologii „fin de siècle'u“. Ostateczne podstawy naszych dociekań, pierwsze założenia, z których wychodzimy, chwieją się pod nogami; niepewność i wątpliwości podkopują odwieczne fundamenta. To, cośmy dotąd poczytywali za rezultaty pozytywnego badania, okazuje się tylko wypływem apriodycznych przypuszczeń, głęboko zakorzenioną wiarą, a gdy strona najbardziej powołana i jej autorytet niweczy, cóż dziwnego, iż duszę opanowuje znużenie, iż nie czując gruntu pod stopami chwyta się ona innej, również hypatetycznej, ale słodszej i bardziej uspakajającej wiary...

Metafizyka! żachnie się niejeden z czytelnikow, i sądzi, że ta obelga zabija. A jednak metafizykę zabijają od wieków, począwszy od Sokratesa, a przecież ona żyje, jak długo w sercach żyje tęsknota i poczucie nieskończoności...

Obelga zresztą nie zabija; działo się to tylko za starych czasów, feudalno-rycerskich, albo za równie odległych od dzisiejszych pojęć czasów poezyi i dramaturgii romantycznej. Gdyby np. obelga zabijała, nie żyłby już potężny odłam narodu i parlamentu niemieckiego, należący do konserwatystów, zabitym i pogrzebanym byłby już pastor Stöcker, a wprost w stanie rozkładu trupiego znajdowałby się szlachetny baron Hammerstein. Ileż bowiem obelg, i to nawiasem mówią, zupełnie usprawiedliwionych, nie ciska im każdego dnia w twarz prasa t. zw. postępowa wszelkich odcieni!...

Całe dziennikarstwo tutejsze stało się wielką pralnią brudów prywatnych. I w czasie, kiedy ugrupowanie się stronnictw politycznych, będące wyrazem najbardziej piekących potrzeb i dążności ekonomicznych, przybiera kształty walki na noże, prasa zmienia się w trybunał św. inkwizycyi dla badania serc i nerek kilku zgnitych jednostek... Nie chcę rzucać inwektyw, ale miałbym ochotę świsnąć biczem krwawej satyry nad uchem augurów berlińskiego dziennikarstwa, którego naczelną zasadą jest: „Kryminał istnieje nie dla niebezpiecznych, lecz dla niezgrabnych złoczyńców“.

Theatrum! które chce być światem prawdziwym! Wolę ja już deski innej sceny, dokąd przychodzę bez złudzeń i faktycznie mam wrażenie, iż do dna duszy poznałem pewną grupę ludzką — także bez złudzeń. Taką sztuką teatralną bez illuzyi, niemiłosierną i poruszającą do głębi jest dramat *Jerzego Hirschfelda*: „Matki“.

Pierwsza ta premiera, którą przedstawił tutejszy "Deutsches Theater“, scena najgościnniejsza dla młodszych kierunków w sztuce. Grana przed kilku miesiącami na deskach „teatru ludowego“, sztuka Hirschfelda przemówiła obecnie do szerszej publiczności, wstrząsnęła i niezatarte zostawiła wrażenie.

Jestto rzecz na wskroś nowoczesna. Młody kompozytor, pełen nieokreślonego zapału i tęsknoty spotyka na drodze życia biedną robotnicę i dla niej wyrzeka się bogatych rodziców, tradycyi, komfortu, otoczenia artystycznego, którego wrażliwa jego dusza potrzebowała, jako ryba wody. Pół-małżonka pracuje na niego, on sprzedaje swój talent, a dusza jego jeszcze więcej się łamie i rozstraja. Potem, gdy nadchodzi chwila, kiedy po śmierci ojca, matka woła go do siebie, kiedy ona i siostra chcą biedną robotnicę przyjąć w grono rodzinne,

kiedy ostatnia nareszcie zdobywa się na akt największej abnegacyi i rozwiązuje mu ręce, aby w odpowiedniej dla siebie atmosferze mógł talent swój rozwinąć — on nie może odzyskać lotu i złamany dekadent idzie dalej w świat...

Typ ten półgeniusza, pół bankruta, człowieka o najwyższych aspiracyach, który równocześnie bezwiednie siebie i świat okłamuje, typ ten pełen sprzeczności i oscylacyi, został przez *Hirschfelda* oddany z gorącem przejęciem. Z niepospolitym realizmem w psychologii i szczegółach zostało też odtworzone „milieu", w którym bohater się rozwija. Sto strun porusza on w sercu, a chociaż sztuka nie kończy się artystyczną harmonią, musimy w niej uznać cenny nabytek repertuaru, a w dwudziestodwuletnim autorze godnego towarzysza Halbeg'o i Wolzogena.

„Schiller-Theater" poczęstował nas inną sztuką, jakżeż mało „modern", a przecie odpowiadającą nastrojowi wielkiej części lepszej publiczności. *Ludwik Jakobowski* dał w komedyi „Digab der Narr" uscenizowanie starej powiastki o trzech braciach, z których dwaj byli mądrzy a trzeci . . . Trzeci był synem białej małżonki potężnego szeika na puszczy. Pogardzany i prześladowany przez braci z czarnych żon swego ojca, usunął się, udawał głuptasa i pasał owieczki. Dopiero gdy groźni nieprzyjaciele wpadli do małego państewka, a mądrzy bracia stchórzyli, on... on stał się zbawcą przybranej swej czarnej ojczyzny.

Pan *Jakobowski* jest żydem (pono z Gniezna), więc prasa chciała w sztuce jego widzieć jakiś symbol. Jak zawsze, widzi komentator to, o czem autorowi się nie śniło. Niczem więcej, niż udramatyzowaną bajką, autor nas nie obdarzył; ale jest w niej pewna świeżość i naiwność, jest wiersz dźwięczny i postacie wspaniałe, a wszystko to razem wzięte robi faktycznie wrażenie południowego spokoju wśród burz i walk „współczesnych", a wszystko to razem także zaspakaja pewien drzemiący w nas, dzisiaj tak rzadko zadawalany nerw.

Silne sensacye nerwowe z desek i bibuł, które mają świat przedstawiać, czekają nas dopiero po upływie kilku tygodni. Teatra zapowiadają nową sztukę filistersko-rewolucyjną *Sudermanna:* „Ciche szczęście" (Das Glück im Winkel), tudzież trylogię historyczno-rewolucyjną *Hauptmanna* z czasów wojen chłopskich: „Floryarl Geyer". Z dzieł literackich oczekują pewne koła z naprężeniem powieści *Feliksa Hollaendera,* autora „Jesus und Judas", „Magdalena Dornis" etc., w której niema ani jednej postaci fikcyjnej, ani jednej intrygi zmyślonej. Tutejszy świat wysokich finansów i dziennikarski dostarczył modelów. Hollaender postawił sobie za zadanie w szeregu powieści zobrazować współczesny Berlin; talent obserwacyjny i czułość psychiczną posiada w niepospolitej mierze.

Zastępca.

Z estrady i sceny.

(Uriel Acosta. — Dwa herby.)

Jest w Urielu Acoście jakiś czar magnetyczny; wieczystą wiosną dyszy ten utwór, i gdzie tylko w duszach ludzkich nie zamarły do szczętu iskry poezyi, tam gra potężnie i wstrząsa potężnie. Uriel bowiem to wcielenie wszechludzkiego i odwiecznego ideału sztuki, — to dzieło prometeizmu, to duch-rewolucyonista królujący po wszystkie wieki w dziedzinie poezyi. Niekiedy tłumią go przelotne prądy, ale gdy tylko geniusz uderza w struny, zawsze nieomal zmartwychwstaje w pieśni jego ten, co światło Bogom wykradał, — ten wiecznie szukający wróg formułek i dogmatów, wiecznie życiowe ramy rozpierający Tytan, wiecznie przeklinający dziś a szukający jutra reformator. I dla tego właśnie Uriel Acosta posiada urok wiosenny, mimo swego piętna romantycznej chwiejności, zamieniającej dęby w giętkie wierzbiny, i mimo pewnej nieudolności technicznej właściwej temu utworowi.

Jeżeli jednak dramat Gutzkowa niezmiennie utrzymuje się w repertuarze scen europejskich, to zaliczyć to musimy poniekąd i na karb tej okoliczności, że posiada on jedną z najefektowniejszych „ról" w literaturze dramatycznej. Ten przeklinany, wyszarpujący z głębin swej duszy odwołanie filozof, ten w proch powalony i z prochu powstający wróg talmudu, ten lew spętany, w krytycznej chwili zrywający więzy i rzucający pioruny ogniste w twarz zgrai rabinów, — to istotnie cytra potężna, na której artysta wyśpiewać może pieśń przedziwnej piękności. Ale niechaj nikt nie porywa się na „Uriela Acostę", kto oprócz inteligencyi i czucia artystycznego nie posiada siły pierwszorzędnej, bo cieniem będzie i pod stopami fanatycznego żydostwa zginie nie urosłszy w olbrzyma.

Czytelnicy nasi przypominają sobie zapewne jeszcze występy Żelazowskiego na poznańskiej scenie. Artysta ten rozumiał i odczuwał Uriela, gra jego była subtelną i głęboką, lecz żadna z tych zalet nie wydobyła iskry elektrycznej, wstrząsającej publiczność. Podziwialiśmy finezyę artysty, ale ten Uriel Żelazowskiego nas nie porywał i nie roznamiętniał. Nie było tam potęgi, — burza i muzyka gromów nie grała nam w czwartej odsłonie dramatu, a najsilniejsze momenty tragedyi ideowej ginęły — w szepcie piersiowym. Wspomnienie to prześladowało nas bezustannie w czwartkowy wieczór teatru naszego. Jest jednak ta różnica między grą pana Żelazowskiego a Skirmunta, że pierwszy z góry rezygnuje z efektów silnych, pojmuje rolę swoją refleksyjnie i zaczyna głosem bardzo słabym, ponieważ wie dobrze, że skala jego nie wysoka a stopniować musi bohater Gutzkowa, — drugi natomiast nie oblicza głosu, pragnie wyrzucić cały orkan namiętności z piersi skołatanej i w stanowczej chwili widzi się bezsilnym. Żal mi istotnie p. Skirmunta. On tego Uriela tak ukochał, tak subtelnie wycieniował, w taki aparat mistrzowskiej mimiki wyposażył, ale materyał głosowy jego za mały, by w grom się zamienić. I dla tego ten Uriel jego mimo najdelikatniejszych kresek i cieniów był czemś niedokończonem i urwanem, — jakąś tragiczną walką idei i formy. Mówią, że Michał Anioł, nie mogąc wydobyć z marmuru całej potęgi czucia swojego i myśli, młotem rozbijał oporny materyał, — podobne uczucia grać musiały w duszy p. Skirmunta. Czuł i myślał potężniej niż grał. Wicher szumiał mu w głębinach duszy, a słowa były wietrzykiem.

Odmienne wrażenie wywarła na mnie p. *Paszkowska* w roli Judyty. Gra tej artystki nie była może w szczegółach mimicznych dostatecznie wykończoną i plastyczną, ale ból i miłość płynęły tu jak strumień górski, rwąc i unosząc z sobą publiczność. W słowach jej drgała *cała* dusza i *cała* męka Judyty, a wspaniała scena aktu III, gdy Uriel idzie spełnić odwołanie, i ostatnie chwile konania były objawieniem wręcz niepospolitej siły dramatycznej. Panna Paszkowska nie posiada jeszcze stonowania barw psychologicznych i nieraz zgrzytnie dysonansem, oderwie niespodzianie dźwięk jakiś od zasadniczego koloru, ale instrument jej głosu brzmi przedziwną pełnią. I dla tego artystka ta najszczerszą i najsilniejszą była w takich chwilach, gdy po starciu kontrastów uczuciowych, po szamotaniu sprzecznych instynktów jedna namiętność brała górę nad nią i w orkan rozegrała jej duszę. Nie harmonia tonów i półtonów, lecz *wybuch* jest charakterystyczną cechą talentu p. Paszkowskiej.

Z innych artystów, biorących udział w „Urielu", zasługują na uznanie p. p. *Nowacki* i *Wostrowski.* Ben Akiba pierwszego był postacią stylową i pogłębioną, miał jednak chwilami dźwięki nadto młodzieńcze, — Ben Jochaj drugiego rozwinął dużo temperamentu i mimicznego artyzmu, ale zatracał piękność wiersza gorączkowem i wskutek tego niejasnem frazowaniem.

O sobotniej premierze, noszącej tytuł „Dwa herby", mało mam do powiedzenia. Znowu farsa i znowu spółka Blumenthal Comp. Kadelburg, — tylko, że najnowsze dziecię tego małżeństwa nosi jeszcze wyrazistsze cechy anemii, niż wystawiony przed trzema tygodniami „Pan Senator". Pomysł krotochwili to ograna kolizya dwóch światów: szlachectwa herbowego i szlachectwa pracy, pysznego potomka rycerzy średniowiecznych i amerykańskiego dorobkiewicza. Mniejsza jednak o staroświeczczyznę pomysłu, bo wielki talent sceniczny dobędzie nawet z ogranych motywów potężne dźwięki dramatyczne lub skąpane w porywającym humorze bawidełka. Ale faktura „Dwóch herbów", rozprowadzenie wątku intrygi i żywioł sytuacyjnego komizmu świadczą wymownie, że połączone kapitały talentu w spółce berlińskich farsistów niewielką tylko przedstawiają wartość. Utwór Blumenthala i Kadelburga przebiera nogami, ale nie rusza się z miejsca, i dopiero w akcie ostatnim wyłania się coś w rodzaju humorystycznego zawikłania. Zamiast akcyi postępującej, i plątaniny komicznej wypełniają treść sztuki kłótnie między potomkiem wielkich antenatów i amerykańskim rzeźnikiem. Jest tam wiele dowcipu, wykrojonego oczywiście z grubej materyi niemieckiej — ale, jak już w ocenie „Pana Senatora" zauważyłem, humor farsy nie jest humorem słów lecz humorem sytuacyi. A tego właśnie, z wyjątkiem ostatniego aktu, nie posiadają „Dwa herby".

Jeżeli jednak sobotnia premiera znudziła publiczność, to winien temu nietylko tasiemcowy i mdły charakter utworu, lecz w równym nieomal stopniu niezwykłe, nawet w naszych dziejach teatralnych, partactwo oddania. Jak to się wszystko żółwim snuło krokiem, jak rwało i haczyło, jak ciężko sapało i wytężonym słuchem chwytało szepty suflera, to istotnie najprzykrzejsze wywierało wrażenia. I nie pomógł tu brawurowy komizm p. *Knapczyńskiego,* ani charakterystyczna i wyrazista, lubo chwiejna gra p. *Łaskiego,* ani swoboda p. *Wostrowskiego,* — sztuka wywierała wrażenie ciężkiego wozu, sunącego po bruku. Najefektowniejsze momenty ginęły, — bladły najpiękniejsze barwy.

Wobec takiego niedbalstwa i rażącej niepewności wyrzekam się dokładniejszej oceny poszczególnych artystów, — zwracam tylko uwagę p. *Wostrowskiemu,* że niepotrzebnie ubrał rolę swoją w zalękniony ambaras nieśmiałego młodzieniaszka. Mylna ta interpretacya obniżyła nieco wartość gry, niepozbawionej zresztą właściwej temu zdolnemu artyście ruchliwości.

W. R.

NA WYŁOMIE.

(List kapłana.)

Od jednego z starszych kapłanów zaboru pruskiego otrzymaliśmy w początku bieżącego tygodnia list nader interesujący, dotyczący stanowiska duchowieństwa do polityki „Kuryera Poznańskiego". Ze względu na doniosłość dokumentu tego wystósowaliśmy natychmiast listowne zapytanie, czy autor szanowny zezwala na ogłoszenie listu w łamach „Przeglądu", a gdy poczta przyniosła nam upragnione pełnomocnictwo z tym jedynym warunkiem, by nazwisko autora pozostało w osłonie tajemnicy, podajemy niniejszem pismo zasłużonego kapłana *in extenso* czytelnikom naszym:

Szanowny Panie Redaktorze!

Od samego początku istnienia „Przeglądu" abonuję to pismo i czytuję je — że się tak wyrażę — od deski do deski. Nie powiem, aby wasze naukowe poglądy, wyssane z doktryn pozytywizmu i te nowe kierunki literackie, którym głos tak chętnie dajecie, — zdobyły sobie uznanie moje, ale przyznaję wam chętnie, że nasuwacie mi wiele myśli, któremi zaludnia się pusta plebania moja. Wychowałem się w innych czasach i wyrobiłem sobie inne wierzenia, z któremi się pewno już nie rozstanę aż do grobu... Ale sprzeczać się z wami o to nie będę, bo zasypalibyście mnie takim nawałem erudycyi, że moja stara zmęczona głowa waszym świeżym i niestrudzonym umysłom nie sprosta. Chciałem dziś pomówić z wami o innych sprawach, a mianowicie prosić was, byście przestali określać „Kuryera Poznań-

skiego“ jako „organ duchowieństwa“, — bo określenie to uważam za fałszywe i dla sprawy narodowej szkodliwe. Nie przeczę, że „Kuryer“ od początku istnienia swojego opierał się na podatkach, ściąganych z duchowieństwa, i dopiero w najświeższym czasie otrzymawszy stałą subwencyą w formie rozmaitych obstalunków na druki konsystorskie i arcypasterskie, a mianowicie przez ofiarowany mu druk „Przewodnika katolickiego“ tak naprawił finanse swoje, że o własnych siłach pracować zaczyna, — ale wierzcie mi, że większa część duchowieństwa dla tego płaciła, że płacić *musiała*. Nie przyznaję z tego powodu nikomu prawa mianować „Kuryera“ organem duchowieństwa, bo tam, gdzie składka ma w tej czy owej formie charakter przymusowy, dziennik nie jest tłomaczem składkujących, lecz narzuconym ciężarem. Nie chcę jednak twierdzić, aby pismo to nie miało zwolenników wśród duchowieństwa prowincyi naszych. Owszem znam kapłanów wierzących ślepo tym nowym prądom panów Kościelskich i Komierowskich, znam nawet takich, którym osławione powinszowanie w dzień cesarskich urodzin podobało się wielce, — ale są to przedewszystkiem żywioły młodsze, uniesione wiatrem wiejącym z góry i spekulujące taką służbą polityczną na karyerę. My starsi kapłani, wyrośli „aniż chleba ani z soli ale z tego co nas boli“, charakteru narodowego nie zatracimy nigdy, choćby nam prawiło dziesięć „Kuryerów“, że król pruski mylić się nie może, bo w tytule nosi słowa „z łaski Bożej“, choćby nam tysiąc razy wołano: „Przy tobie najjaśniejszy panie stoimy i stać chcemy“, i choćby uczono nas tej nowej wiary, co to sprawom katolicyzmu służyć, lecz o ojczyźnie zapominać każe. Kto naukę Chrystusa głębiej kocha — czy my starej szkoły kapłani, czy też nowi lojaliści, — o tem na sądzie ostatecznym Bóg przedwieczny rozsądzi, ale zdaje mi się, że Ten, z którego wszechmocy wszystko, a więc i ojczyzna pochodzi, gniewać się o to nie może, jeżeli na sprawy narodowe nie *„przez pryzmat wyłącznie katolicki“*, lecz w równej mierze *przez pryzmat polski* spoglądać będziemy.

Więc — proszę was — skończcie już z tym „organem duchowieństwa“, bo „Kuryer“ tylko jedną cząstkę katolickiego kleru reprezentuje. Jest to po polsku redagowana „Germania“ lub „Schlesische Volkszeitung“ i nic więcej, a na taką reprezentacyę ani ja, ani setki konfratrów moich zgodzić się nie możemy. Wprawdzie zaryglowano nam usta i walczyć publicznie z tym — jak wy to mówicie — „lojalnym ładem i porządkiem“ niebezpiecznie, ale w głębinach duszy wielu z nas ma tylko wstręt dla Kuryerowych dyplomatów. Nie sądźcie też, że my solidaryzujemy się z tą od ś. p. ks. Stagraczyńskiego zapożyczoną taktyką „Kuryera“, ciskającą kamieniami najgrubszego gatunku na każdego człowieka innych przekonań, bo prawdziwy sługa Chrystusa nieuczciwej broni pochwalać nie może. Że tam jeden i drugi ksiądz raduje się z Kuryerowej kartaczownicy a przy okazyi sam, jak w Inowrocławiu, kartaczami ciska, to dziwić się temu nie można. Roznamiętniono ich sztucznie, a co młode, to bić się lubi, — zresztą i wśród najfanatyczniejszych junaków budzić się zaczyna opozycya przeciw redaktorskim kalumniom i napaściom. I tu zatem niesłusznem jest utożsamiać duchowieństwo z „Kuryerem“, a takie wmawianie w ludzi, że służą „Kuryerowi“, może stać się niebezpieczną „sugestyą“, o której wy młodzi tak wiele prawicie. Czytujemy i abonujemy „Kuryera“, — to prawda, — bo o stosunkach Kościoła dokładnie nas informuje, a sumiennego kapłana sprawy takie interesować muszą, lecz w sprawach narodowej polityki połowa duchowieństwa do innego należy obozu. „Kuryer“ jest sobie „Kuryerem“, lecz organem duchowieństwa nie jest.

Przyjm Szanowny Panie Redaktorze wyrazy prawdziwego szacunku.

Ks. X.

Na zapytanie nasze w sprawie publikacyi listu powyższego otrzymaliśmy odpowiedź następującą:

Szanowny Panie Redaktorze!

Jeżeli publikacya mojego listu sprawie przysłużyć się może, to z chęcią na ogłoszenie się zgadzam. Proszę jednak nazwisko moje w ścisłej zachować tajemnicy, bo za stary jestem, aby walkę podejmować z władzą, — a walka ta nie ominęłaby mnie z pewnością i zgotowałaby mi niezawodnie miano burzyciela i wichrzyciela. Znając stosunki dokładnie, zrozumiecie skrupuły moje. Polecam was Bogu.

Sługa w Chrystusie

Ks. X.

Podając listy powyższe do wiadomości ogółu, poczuwamy się do obowiązku nadmienić, że miano „organu duchowieństwa“ od lat już wielu ma kurs w prasie poznańskiej, a żaden z kapłanów dotychczas przeciw słuszności takiego określenia nie zaprotestował. Nadomiar „Kuryer Poznański“ w odezwach swoich abonamentowych i w artykułach polemicznych tak się wyrażał, że utwierdzał opinię w przekonaniu, jakoby przysługiwało mu prawo uważania się za wyraz przekonań, dominujących w szeregach duchowieństwa naszego. Jeżeli nadto uwzględnimy i tę okoliczność, że w czasie ostatnich bojów politycznych kapłani wszędzie reprezentowali kierunek Kuryerowy i z godnym lepszej sprawy fanatyzmem starali się zdusić każde dążenie odmiennej barwy, to nikt dziwić nam się nie może, że zamiast wystąpić przeciw tytułowi „organ duchowieństwa“, otworzyliśmy dłań na roścież bramy „Przeglądu“. Bądź co bądź z radością witamy wiadomość, że w łonie duchowieństwa naszego drzemie płomień buntu przeciw komendzie Kuryerowej i marszałkom prusofilstwa naszego. Narodowemu odłamowi kleru polskiego przesyłamy wyrazy czci najgłębszej i serdecznej sympatyi, lecz równocześnie budzą się w duszy naszej trwożne przeczucia i trwożne pytanie: Jakiež będzie jutro narodu, jeżeli młodsze duchowieństwo służy Kuryerowym Bogom?

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Pogląd na dawniejszą literaturę rolniczą polską. Pod tym tytułem wygłosił p. dr. T. Jackowski odczyt na walnem zebraniu Towarzystwa gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem dnia 14go marca 1893. Odczyt ten wydrukowano w „Ziemianinie“, a obecnie wydano w osobnej odbitce. Zasługą p. Jackowskiego jest, że poruszył ten temat, i praca jego może zająć wykształconych rolników, jednakże jako praca naukowa grzeszy stanowczo wielką niedokładnością, o czem przekonywa rzut oka do katalogu jakiejkolwiek biblioteki zamożniejszej, a nawet „Encyklopedya rolnicza“, wydawana w Warszawie, zawiera materyał obfitszy. Przytem nie możemy zgodzić się ze zdaniem autora, że „zadaniem Towarzystwa rolniczego... może być jedynie ocena dzieł tych pod względem ich zawodowej, gospodarskiej treści...“ Sądzimy, że zadaniem autora piszącego dla rolników o literaturze rolniczej byłoby zapewne także wskazanie zależności pomiędzy ogólnemi warunkami społecznemi a produkcyą rolniczą. Tak n. p. w literaturze wieku XVIII występuje bardzo wyraźnie pogląd, że wprowadzeniu racyonalniejszego gospodarstwa staje na przeszkodzie pańszczyźniana praca itd. Zresztą sam autor potrąca o to, wykazując n. p., że w dawniejszej Polsce tuczenie umiejętne nie mogło mieć miejsca z powodu taniości mięsa. — Naturalnie nie robimy zarzutu autorowi, z pominięcia tej strony kwestyi, chcielibyśmy jedynie zwrócić na nią uwagę tych, którzy zechcą pójść jego śladem, a nie wątpimy, że tacy się znajdą, bo temat jest ciekawy.

M.

* * *

Znaczenie i rozwój przemysłu domowego i handlu ludowego. Odczyt dr. Z. Celichowskiego na zjeździe przemysłowców w Poznaniu. Poznań 1895.

Autor szanowny zaznacza na wstępie, że podjął się odczytu przedewszystkiem dla tego, że „prawdę, która ma wniknąć w samowiedzę ludu, należy bezustannie powtarzać przynajmniej przez 25 lat“. W każdym razie, nietylko przypomniał on społeczeństwu sprawę ważną przemysłu domowego, ale zarazem dał mu cenną, treściwą książeczkę w tej sprawie, którą gorąco czytelnikom naszym polecamy.

Zgodnie z peszteńskim kongresem statystycznym z r. 1875 autor przyjmuje trzy stopnie rozwoju przemysłu domowego:

1) pracę w łonię rodziny, poza głównem zawodowem zajęciem, na zaspokojenie własnych potrzeb;

2) przemysł domowy, pracujący już w celach handlowo-zarobkowych obok głównego zajęcia, mianowicie rolniczego;

3) wyłączne wykonywanie wyrobów przemysłowych w celach handlowych, już to na rachunek przedsiębiorcy, czy fabrykanta, już to w celach eksportu na własny rachunek przez domokrążenie.

Opisuje następnie o ile te trzy rodzaje rozwinęły się w Polsce, podając przytem wiele ciekawych faktów, po które odsyłamy czytelników do broszury.

Przechodząc do stosunków wielkopolskich w szczególe, autor wykazuje, że trzeciego stopnia przemysłu domowego tu niema jeszcze i zaznacza również, że nawet nie jest to pożądany stan. Pamiętajmy o tem, powiada, że w licznych przypadkach, a pewnie w przeważnej części, ludność zajmująca się przemysłem domowem na jego trzecim stopniu rozwoju nie żyje w bardzo pomyślnych warunkach, że owszem cierpi biedę i nędzę. Natomiast zachęca p. Celichowski do popierania dwóch pierwszych form przemysłu domowego, ponieważ te zatrudnienia mogą przysporzyć grosza naszemu ludowi, zapełniając czas wolny od zajęć rolniczych. Dla ożywienia więc ruchu w tym kierunku, autor poleca: 1) urządzić wystawę wyrobów domowego przemysłu wszystkich kółek rolniczych lub nawet ogólną wystawę tego rodzaju; 2) dla ulepszenia wyrobu korzystanie z istniejących szkółek zręczności, a gdzie ich niema dotąd wprowadzanie ich w życie; 3) założenie bazaru krajowych wyrobów, gdzieby każdy, produkujący jakiekolwiek wyroby domowego przemysłu mógł składać takowe w komis celem sprzedaży na wzór takiegoż bazaru w Krakowie i Lwowie. 4) Celem założenia takiego bazaru należałoby zawiązać albo towarzystwo popierania przemysłu domowego albo Spółkę zarobkową z ograniczoną poręką, z udziałem choćby 50 marek. Dodaje wszelako autor: „Wszelkie jednakże usiłowania, podejmowane w celu podniesienia przemysłu domowego nie odniosą pożądanego skutku, jeżeli całe społeczeństwo nie przejmie się zasadą „popierajmy przemysł domowy!“ Mamy pretensyą, że jesteśmy narodem odznaczającym się miłością ojczyzny, ale w tym kierunku uczmy się patryotyzmu od Węgrów i Czechów. Narody te pokazały, do jakiego stopnia rozwoju można doprowadzić przemysł rodzimy, jeżeli całe społeczeństwo solidarnie i energicznie weźmie się do dzieła. Przekonanie to powinno jednakże przeniknąć wszystkie warstwy narodu, od wspaniałych pałaców do najuboższej chaty.

Co do handlu ludowego autor zaznacza, że zakładanie handli po wsiach nie jest bardzo pożądanem. Nasze wsie nie są zbyt ludne, miasteczka są gęsto rozsiane, a co najgorsza, że takie sklepiki wiejskie rozpoczynają często od handlu towarami kolonialnemi i łokciowemi, przechodzą następnie do handlu piwem, a kończą handlem wódki i szynkiem otwartym lub tajemnym.

M.

* * *

Prof. Ludwik Gumplowicz zamieścił świeżo w „Revue internationale de Sociologie“ artykuł pod tyt. „Mouvemant social en Autriche, la Question Polonaise“. Autor zastanawia się tam głównie nad znaczeniem wystawy lwowskiej, uważając ją jako objaw wskazujący, „że Polacy zwracają swe usiłowania do odrodzenia i przemiany wewnętrznej narodu“. Na tę wystawę złożyły się „zgromadzone wytwory pracy narodowej, pokazując, że szczególnie Galicya zrobiła

ogromne postępy we wszystkich kierunkach życia ekonomicznego i przemysłowego, jako też, że na polu pracy umysłowej i administracyjnej, oraz organizacyjnej niezmiernie wiele dokonano". „Sam cesarz Austryi, wiedząc, że Polacy dzisiejsi w Galicyi umieją łączyć swoje nadzieje z lojalnością wobec dynastyi Habsburgów, wypowiedział we Lwowie te słowa pełne znaczenia: „Panowie, rozumiemy się nawzajem". Przewodnią myślą artykułu jest, że „największa odwaga i waleczność jednorazowa nie zbawią narodu, który nie nabrał hartu i żywotności w codziennej walce życia".

* * *

Maurycy Zych. „Rozdzióbią nas kruki, wrony". Obrazki z ziemi mogił i krzyżów. Kraków. L. Zwoliński i Sp. 1895.

Maurycy Zych (pseudonim) zapisany głęboko w pamięci czytelników naszych utworami „Mogiła" i „Rozdzióbią nas kruki, wrony", ogłosił w Krakowie cały zbiór przedziwnie pięknych obrazów powieściowych. Zanim tej książce, która jest jednem z najwybitniejszych zjawisk w dziedzinie nowoczesnej literatury, poświęcimy szerszą i głębszą ocenę, podajemy poniżej literacką notatkę „Przeglądu Wszechpolskiego":

„Na tom złożyło się siedem oddzielnych utworów, z których pierwszy nosi tytuł, położony na okładce całego tomu, tytuły zaś pozostałych brzmią: „Mogiła", „Źródło", „Niedobitek", „W sidłach niedoli", „Poganin", „Do swego Boga". Wszystko to są obrazki z życia zaboru rosyjskiego, „z ziemi mogił i krzyżów". Są to rzeczy współczesne, za temat im posłużyło życie najświeższej doby, i ta współczesność jest jednem z wybitnych znamion wszystkich utworów, nie wyłączając pierwszego obrazka, dla którego za tło, za plan dalszy, posłużyła chwila upadku ostatniego powstania. Autor nie daje pełnych obrazów, ale chwyta pojedyńcze rysy życia, sięgając do sfer rozmaitych, bardzo od siebie odległych. Są tam i urzędnicy powiatowi, i zakrzepła umysłowo szlachta wioskowa, i młodzieniec ze zwichniętą karyerą, ostatni nędzarz z aspiracyami do wyższej stopy życiowej i stary niedobitek z epoki wielkich porywów, były zesłaniec za powstanie, student, młody rewolucyonista, więzień dziesiątego pawilonu i... chłop, chłop podlaski, na którego grzbiecie nie zatarły się jeszcze blizny z okresu prawosławnego apostolstwa, sceptyk, mający żal do tej wiary, za którą tyle męczarni przeszedł, albo niezłomny wyznawca, uciekający od rządowej religii „do swego Boga". Wszystkie te obrazki narzucone są barwami ciemnemi, koloryt ich jest smutny, rozdzierająco smutny. Przez ten smutek wije się tu i owdzie nić goryczy, miejscami przyprawnej czemś w rodzaju cynizmu. Cynizm ten jednak niewinny — to coś sztucznego i powierzchownego, obcego temu głębokiemu „ja", które siedzi na dnie duszy i porusza całą istotą autora. Czasami przepada on gdzieś zupełnie, i pozostaje czysty, nieukrywany smutek. Niepodzielnie on panuje w kilku drobnych obrazkach, jak „Rozdzióbią nas kruki, wrony", „Poganin", „Do swego Boga", będących istnemi arcydziełami, nie powiem, perłami literatury, bo słuszniej im się pierwsze miano należy. Ale smutek ten, pomimo całej swej głębi, nie jest beznadziejny. Pod przygniatającą wszystko ławą zła miejscami uwydatnia się jakaś silna moralnie istota, nie dająca się ugiąć. Silnie zwłaszcza występuje ten rys, gdy autor zbliża się do ludu. Sam on go podkreśla, kładąc na czele książki motto: „A po długiem męczeństwie zorzę rozwiodę nad wami — uduruję was szczęściem i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością".

* * *

Nowy „poeta". Mamy nowego poetę w osobie p. Teodora Smolarza, a co ważniejsza — poetę, który nie idzie śladem większości naszych najmłodszych wieszczów i nie daje nam w lilipucich dozach odpadków swego natchnienia, lecz występuje od razu z poematem.

A nosi ten poemat tytuł „W Ojcowie". Dla czego w Ojcowie, zgadnąć trudno, bo mogłoby być tak samo w Wojce, w Drwinowie, lub w Popieliszkach. Chyba dla tego, że poemat jest djablo romantyczny, a więc i scena przedstawiać powinna okolicę romantyczną.

Był sobie jakiś Cezar, który miał przyjaciela Konrada, a ten był dręczony pragnieniem mamony. Konrad opuścił kraj, a tymczasem w sercu Cezara zostało ku kobiecie uczucie miłości, „aż stało się wulkanem, żarem buchającym". Kobieto! — woła poeta —

ta miłość ku tobie, jak ty, z piekła rodem!
Kto kocha całem sercem namiętnie, ten wrzodem
Śmiertelnym jest zatruty...

Ideałem Konrada była Marya; „ciało miała anioła, a duszę poczwary". Kiedy Cezar i Marya przykładnie się pobrali i spędzali miodowe miesiące, powrócił Konrad, jako „żebrak schorzały". Cezar przyjął go serdecznie, a Konrad wkrótce trzymał w swych objęciach „ciało anioła z duszą poczwary". Kiedy Cezar raz zastał ich „w ciemności altany", czekał, czy na niebie nie ukażą się błyskawice, czy sklepienie niebios „swemi gruzami nie zasypie ohydnych", a potem

spojrzał w ziemię okiem rozwścieklonem
Zdolnem ją wstrzymać w ruchu odwiecznie wdrożonym.

Ale jakoś ziemia się nie zatrzymała, a więc Cezar wpadł do altany, chwycił Maryę za gardło i zadusił. To uczyniwszy, podczas wichru, czarnych tumanów kurzu, syczenia błyskawic, znalazł się przy skale około drogi. Błyskawice pobladły, księżyc błysnął, słowiczek smętnie nucił, a Cezar wciąż stał przy skale około drogi. Coś zatętniało — ukazał się rumak, a na nim Konrad. Błysło, huk się rozległ, jeździec we krwi leżał na drodze. Koń, nie głupi przypatrywać się takim okropnościom, umknął, a Cezar „kopnął trupa nogą", przeleżał się na murawie, ptaszka, co z gniazdka wypadł, ostrożnie zaniósł na swoje miejsce, później całował jakiś kawałek wstążki, aż go cisnął i podeptał nogami, wreszcie „zimny pistolet przyłożył do skroni". Zbroczonego krwią znalazł pustelnik i tłómaczył mu, że niezadługo „musi złożyć z życia sprawozdanie". Cezar na to opowiedział mu historyę swojego życia i oświadczywszy, że „niema Boga i niema wieczności", wziął i umarł.

Taką jest treść najnowszego poematu, który czy wzbogaci literaturę, pozostawmy do ocenienia naszym krytykom. *K. B.*

* * *

Zdanie Emila Zoli o Napoleonie III. Niedawno w Brukseli obradował kongres ligi pokoju, w Niemczech odbywały się uroczyste obchody dwudziestopięciolecia zwycięzkiej nad Francyą kampanii 1870 r., w Paryżu zaś prasa porusza dziś jeszcze bolesne wspomnienia owej straszliwej katastrofy, zakończonej oderwaniem dwóch francuzkich prowincyi Alzacyi i Lotaryngii, oraz haraczem pięciu miliardów franków. Dziennik „Le Gaulois" z powodu 25-lecia wojny francuzko-niemieckiej, wysłał jednego ze swych redaktorów do autora „Pogromu" (Débâcle) z zapytaniem, jaka jest jego opinia o Napoleonie III? Emil Zola odpowiedział: „Inaczej dziś sądzę Napoleona III, aniżeli za czasów mej młodości. Wzrosłem w epoce, gdy Wiktor Hugo ciskał gromy na „Małego Napoleona" (Napoleon le Petit), a książka ta wówczas była dla mnie historyczną prawdą. Napoleon III w innym utworze Wiktora Hugo „Les Châtiments", przedstawiony w postaci potworu, dziś wydaje mi się tylko komicznym, skutkiem olbrzymiej przesady, z jaką poeta go przekazał. Zmieniłem mój pogląd przy ściślejszem badaniu dziejów trzeciego cesarstwa. Któż bowiem wykonał zamach stanu 1852 roku? Czy książę Ludwik-Napoleon? — Nie. Dokonali go Morny, Saint-Arnaup, Magnan, czyli najbliższe otoczenie księcia-prezydenta Rzeczypospolitej francuzkiej. Ludwik Napoleon był marzycielem, lecz nigdy nie był człowiekiem czynu. Był on sentymentalnym fatalistą, wierzącym w swoją gwiazdę, szedł zapatrzony w nią, dając się skutkiem tego nieść fali wypadków, ze spokojem i ufnością. Wierny wierze w swoją gwiazdę, dopełniał losu swego przeznaczenia, aż do kresu, zakończonego otchłanią krwi pod Sedanem. Indywidualnie, cóż można zarzucać temu człowiekowi, pełnemu mistycyzmu i chimerycznych marzeń? Mówi się wiele o marnotrawieniu publicznego skarbu podczas jego rządów! Lecz czyż to złoto osiadało w kieszeni Napoleona III? Mówi się o potokach krwi wówczas wylanej. Lecz czyż jego należy czynić odpowiedzialnym? Byłem i jestem republikaninem, zatem sąd mój nie może być podejrzanym o imperyalistyczną partyjność i jeżeli pobłażliwy jestem dla Napoleona III jako dla człowieka, surowiej go sądzę jako głowę państwa. Człowiek jest mi sympatyczny, zaś rządy trzeciego cesarstwa przeciwnie.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** Otwarcie gimnazyum Cieszyńskiego odbyło się 10-go października. Redakcya nasza wysłała depeszę gratulacyjną. — Francuzi zdobyli stolicę Madagaskaru. Wojna zbliża się ku końcowi. — Ojciec św. wystosował do sekretarza stanu, ks. kardynała Rampolli, pismo, protestujące przeciw aneksyi Rzymu i domagające się przywrócenia papieżom władzy świeckiej. — Zatarg między armeńską i turecką ludno cią przybiera w Carogrodzie coraz większe rozmiary. Rozruchy przeniosły się na prowincyę. — W górnoszląskim okręgu pszczyńsko-rybnickim mianowano ze strony polskiej kandydatem do parlamentu niemieckiego p. mecenasa Radwańskiego, którego kandydatury przy wyborach do sejmu przeprowadzić się nie udało. — Sejmowi pruskiemu przedłoży rząd w najbliższym czasie nowy projekt do prawa o stowarzyszeniach. Będzie to podobno echo ś. p. ustawy przewrotowej. — Według doniesień biura Wolffa uchwalono podobno na radzie nowego gabinetu austryackiego zniesienie stanu wyjątkowego w Pradze.

* **Teatr i muzyka.** W dniu 19 i 20 b. m. odbędą się jubileuszowe uroczystości założenia teatru poznańskiego. W uroczystościach tych wezmą udział delegaci wszystkich towarzystw poznańskich oraz reprezentanci innych teatrów polskich i czeskich. W sobotni wieczór jubileuszowy scena nasza wystawi „Śluby panieńskie". Program zawiera oprócz tego przemówienia różnych delegatów i występ „Koła Śpiewackiego". W niedzielny wieczór koncertować będzie kapela sokolska w mundurach. — Nowości teatru niemieckiego: „Ależ to małżeństwo" Linsemanna, — „Ojciec kruków" anonimowego autora, — „Przy granicznym kamieniu czasu" Weisera, tragedya z czasów Nerona, — „Victoria", dramat Bluthaupta. — Janowski, były dyrektor teatru łódzkiego, zamierza z trupą swoją wyjechać na stały pobyt do Odesy. — W stanisławowskim teatrze występuje na przemian towarzystwo operetkowe Myszkowskiego i towarzystwo dramatyczne Antoniewskiego. — Prolog na uroczystość jubileuszową teatru poznańskiego nadesłał p. Wł. Bełza. — Opera warszawska zaangażowała na występy gościnne p. Warmutha i p. Camilową. — W teatrze lwowskim święci tryumfy kasowe krotochwila pod tytułem „Pan Bigelhoffer". — S t a r a s z t u c z k a. W „Teatro nuovo" w Neapolu ogłoszono niedawno pierwsze przedstawienie nowej farsy panów Bluma i Toché. Na afiszach u spodu znalazło się ostrzeżenie tej treści: „Dyrektor teatru uważa za obowiązek zwrócić uwagę publiczności, że treść sztuki jest dosyć swobodna i nie kwalifikuje się dla młodych dam". Afisz zrobił swoje, teatr był przepełniony".

BIBLIOGRAFIA.

Dzieje powszechne ilustrowane. Tom III. Wiedeń, 1895.

Odpowiedzi Redakcyi.

Życzliwej. Dziękujemy za wycinek. Niechaj to Panią nie dziwi, że „Kuryer Pozn." wysyła nas do akademi smorgońskiej. On tam był i dla tego wyświadcza społeczeństwu n i e d ź w i e d z i e p r z y s ł u g i.

Samoukowi. Owo „tire aux pigeons" jest zabytkiem średniowiecznym. Szlachcie francuskiej przysługiwało swojego czasu wyłączne prawo strzelania do gołębi. W Polsce przywilej ten nigdy nie egzystował.

Składki.

Na fundusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli:

Pan dr. St.	2,00 mrk.
Pan dr. Z.	1,00 „
Pan Gr.	2,00 „
Pan F. Fr.	2,00 „
Pan P.	0,50 „
Razem	7,50 mrk.

Ogółem zebraliśmy dotychczas 768,90 mrk.

O dalsze składki prosimy gorąco.

Na rzecz „Tow. Pomocy naukowej dla dziewcząt polskich" złożyli:

Pani Stanisława Sobecka 3,00 mrk.
Pan Roman Lewandowski z Wiednia 1,20 mrk.
Razem 4,20 mrk.
Ogółem zebraliśmy dotychczas 34,20 mrk.

Zachęcamy serdecznie do dalszych składek ze względu na humanitarny i narodowy cel tej instytucyi.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 42. Poznań, Niedziela 20. października 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Ul. św. Marcina 22, II.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Sprawy szląskie.

(Gorętsze zajmowanie się sprawą wyborów. — Brak funduszu agitacyjnego. — Zarzekanie się czynnej agitacyi. — Obłuda — Górą mielizny. — Radwański a Napieralski.)

Każdemu, kto obserwuje sprawy szląskie, podpaść musiało w ostatnim czasie jakieś gorętsze zajęcie się sprawą, a mianowicie sprawą wyborów do sejmu pruskiego w okręgu pszczyńsko-rybnickim. Widomym objawem tych zabiegów było zebranie w Żorach, na którem lud polski w tych stronach po raz pierwszy stanął na stanowisku dotąd tu nieznanem, bo radykalnie polskiem. Katolickie gazety niemieckie węszą w tem, jak wszędzie w podobnych razach, agitacyą wielkopolską, a o mało co, że nie wymieniły źródeł funduszów agitacyjnych, z których rzekomo nasze pisma górnoszląskie czerpały środki materyalne. Że my też wciąż ci sami — niepoprawni! Tego, co do prowadzenia każdej wojny jest zawsze najpotrzebniejsze tj. w obecnym przypadku fundusz agitacyjny, o który nas przeciwnicy jako o coś naturalnego i nieodzownego posądzają, tego w istocie nie ma. Nie ma na ten cel ani szeląga publicznego na całym Szląsku. Może niejeden posądzi lud o obojętność dla spraw publicznych i skąpstwo, — zaiste, że i pod tym względem jeszcze wiele pozostaje do życzenia, lecz dotąd nikt ofiarności ludu szląskiego na powyższy cel nie próbował, więc i pesymistycznych wróżb wytaczać nie wolno. Część naszej prasy tutejszej lęka się czynnej agitacyi wyborczej i nie może zrozumieć, że bezczynność jej w tym wypadku jest występkiem przeciwko własnym interesom i interesom polskości.

To szukanie jakiejś drogi pośredniej pomiędzy chęcią spodobania się swym czytelnikom, a obawą utraty łask wpływowych germanizatorów graniczy częstokroć z obłudą. A jakże nazwać ubolewanie jednego z naszych prowodyrów nad tem, że ulegając wpływom postronnym z okazyi wyborów do sejmu w pszczyńsko-rybnickim okręgu za daleko się zaangażował, zamiast starym trybem siedzieć w kącie i czekać, czekać bez końca.

Nie daj Boże nowej porażki, bo ci, którzy za daleko się niby posunęli, gotowi dla solwowania swej skóry na przyszłość całkiem się schować. Górą mielizny — na głębiach giną!

Redaktor „Katolika“ p. Adam Napieralski ofiarowanego mu mandatu poselskiego do parlamentu w pszczyńsko-rybnickim okręgu nie przyjął. A szkoda. Jeżeli kto, to p. N. miałby wszelkie dane po temu, by zwyciężyć. Jakiekolwiek mieć on może powody do uchylania się od ofiarowanego mu mandatu, tyle zdaje się być pewnem, że żaden z nich nie wytrzyma porównania z powodem, dla którego inaczej postąpić był powinien. Powodem, w imię którego publiczny głos p. N. na kandydata powoływał, jest dobro sprawy polskiej, tej samej sprawy, której p. N. dotychczas jako redaktor „Katolika“ w miarę sił swoich służył i w służbie tej zyskał popularność.

Ta popularność właśnie daje panu N. wyższość nad obecnym kandydatem p. Radwańskim, bo pan N. dla wszystkich bez wyjątku Polaków stanowi *znaną* już siłę dodatnią, podczas gdy dzielność p. R. pod względem narodowo-polskim jest dotąd nieznaną i mimo wielkiego zaufania jednostek, szerszych mas za sobą pociągnąć nie może. Wybór Radwańskiego jest o jednę trzecią mniej pewny, bo kandydatura Napieralskiego byłaby niewątpliwie jednę trzecią głosów więcej zgromadziła, niż p. R. ich w dniu 27 b. m. odbierze. Z tem wszystkiem nie traćmy nadziei, że p. Radwański zwycięży, byle tylko mężowie głównego sztabu z odrazy do suggestyi „zapaleńców“ wstecz się nie cofali.

Chim.



POLITYKA.

PRZEKLEŃSTWO I BŁOGOSŁAWIEŃSTWO.

W sprawie głośnych walk Kościoła z ks. Stojałowskim zamieściła „Wiener Allg. Ztg.“ z 8 b. m. pod nagłówkiem powyższym artykuł następującej osnowy:

„Zawsze niesłuszną jest rzeczą używanie w walce partyjnej broni wyznaniowej. Przekleństwo czy błogosławieństwo duchowieństwa nie jest żadnym argumentem i według przepisów kodeksu karnego nie wolno posługiwać się tymi środkami. Przypominamy, że pewnego rabina za użycie tej broni przeciw jednemu z posłów żydów pociągnięto do odpowiedzialności. Niestety, innym uchodzi to bezkarnie, kler katolicki używa tej broni dowolnie i walczy nią przy każdej sposobności. Wprawdzie nie ekskomunikują dziś nikogo, ale prawie to samo osiągają za pomocą listów pasterskich.

„Kto w Austryi nie zna nazwiska ks. Stojałowskiego. Od dziesiątka lat czynny biorąc udział w ruchu ludowym, niezliczoną moc razy na więzienie zasądzony, zawsze wraca do swego i słowem prócz pisma walczy przeciw hegemonii szlachty i porządkom administracyjnym w Galicyi. Władze mają ciągle z nim do czynienia, a także hierarchia kościelna ściga go subjektywnemi i objektywnemi procesami. Wyroki prasowe, wydane przeciw ks. Stojałowskiemu, liczą się na dziesiątki, a biskupi galicyjscy rok rocznie wydają przeciw niemu i jego pismom listy pasterskie. Świeżo w przeddzień wyborów znowu wydali czterej biskupi list pasterski, zakazując czytać jego pisemka „Wieniec polski“ i „Pszczółkę“ pod utratą zbawienia wiecznego. Uczynili to w chwili, gdy ks. Stojałowski odsiadując karę aresztu, nie mógł się bronić.

„Jaki skutek odniosło pismo biskupów, tego nie wiemy, ale to pewne, że nie mogło się ono przyczynić do podniesienia powagi Kościoła. Włościanie widzą po jednej stronie księdza, który do nich zawsze przemawiał w imię Boga i wiary, a po drugiej także księdza, który fanatycznego apostoła religii chrzci mianem odstępcy od wiary. Nawet najbardziej naiwny włościanin rozpoznać musi, że obydwie strony używają broni religijnej do walki o rzeczy świeckie. Jednej i drugiej stronie wojującej brak chrześciańskiej pokory. Wielokrotnie pokonany ks. Stojałowski potrafił się podnieść i podjął walkę na nowo. Biskupi gnębili go karami kościelnemi, on podjął tę samą broń i udaremnił zamiar. Przeciw potępiającemu listowi pasterskiemu biskupów otrzymał 20-go września wprost z Rzymu błogosławieństwo papieża dla redakcyi owych pism. Zamiary biskupów zostały skutecznie udaremnione, ich przekleństwu przeciwstawił ks. Stojałowski błogosławieństwo nieomylnego papieża.

„Aby rozjaśnić te sprzeczności, używa klerykalny „Vaterland“ wybiegu już poprzednio raz praktykowanego. Mianowicie twierdzi, że w Watykanie nie mają czasu przepatrywać tysięcy telegramów, nadchodzących w uroczyste dni, że odpowiada się na nie bez wyjątków, że więc nadużycie bardzo łatwo trafić się może. W każdym innym wypadku możnaby temu uwierzyć, tylko nie w tym, gdzie rozchodzi się o ks. Stojałowskiego, którego nazwisko dobrze jest znane w Watykanie tak z czasów jego pielgrzymek, jak z rozlicznych skarg episkopatu i procesu kanonicznego. Dowodzi to tylko, że w Watykanie ścierają się dwa prądy — co jedni przeklinają, to inni błogosławią“.

Przegląd prasy polskiej.

Pod nagłówkiem „Gazety polskie w opałach“ donosi „Dziennik Kujawski“ w numerze 237:

„Na redaktorów polskich pism sypią się od niejakiego czasu procesa i kary jak z rogu obfitości. Niedawno skazaną została „Gazeta Gdańska“ na 500 mrk. kary i koszta, co razem wynosi około 1000 mrk. Pan Kulerski, redaktor „Gazety Grudziądzkiej“, który latem zapłacił znaczne grzywny, zasądzony został co dopiero na 3 miesiące więzienia. „Gazeta Toruńska“ ma aż 4 procesy naraz. Pan Chociszewski, były redaktor „Dz. Kuj.“, dostał przed kilku tygodniami miesiąc więzienia. „Katolik“ i „Nowiny Racib.“ miały świeżo kilka procesów. Odpowiedzialny redaktor „Gońca W.“, pan Bolewski, jeszcze nie zdążył odsiedzieć jednego miesiąca, który mu niedawno wyznaczono, a już zasądzono w tych dniach na dalsze 2 miesiące wieży“.

Do wiadomości powyższej dołącza „Gaz. Gdańska“ w nr. 121 następujące uwagi:

„Gdzie drwa rąbią, tam drzazgi padają — mówi przysłowie. Prasa polska mimo procesów bez liku, mimo kar dotkliwych nie może nie stać na straży wszystkiego, co nam święte. Uniknąć procesów możnaby chyba wtenczas, gdyby się nie pisało o najżywotniejszych sprawach miejscowych, lecz o Chinach, Afryce, Ameryce — ale cóżby wtenczas była warta prasa, gdyby nie broniła „narodowego pamiątek kościoła“, jak mówi wieszcz?

Zresztą na pociechę możemy zaznaczyć, że pisma polskie są rzeczywiście odbiciem sposobu myślenia i sądzenia całego społeczeństwa polskiego — nie są odosobnione, ale mają tysiące głów i serc za sobą, które myślą i czują porówno z niemi. Mieliśmy tego niezbite dowody, otrzymując po procesie liczne listy od naszych czytelników, listy świadczące, jak wielce współczuje lud polski ze skazańcami redakcyjnymi. Jeśli zaś tak jest, to w górę serca! w górę czoła! Redaktorzy pism polskich, jeśli im cierpieć przychodzi, to cierpią w tem błogiem przeświadczeniu, że nie są odosobnieni, że mają tysiące serc współczujących za sobą — a takie przeświadczenie dodaje otuchy, męstwa i ujmuje połowę cierpień“.

Wśród rodaków naszych, zamieszkałych w Westfalii, toczy się od dość dawnego już czasu zacięta walka między zwolennikami O. Andrzeja, Franciszkanina, dążącego niedwuznacznie do zgermanizowania westfalskich Polaków, a zwolennikami dawniejszych rządów ks. Lissa, który bądź co bądź sprawiedliwiej kierował sprawami narodowemi. Zatargom tym poświęca „Gazeta Gdańska“ następujące uwagi w nr. 122:

„Wogóle z wszystkiego, co w ostatnich czasach dochodzi do publicznej wiadomości z Westfalii, wnosić można, że zanosi się tam na ciężkie dni dla rodaków naszych. „Wiarusa Polsk.“, którego dla obrony rodaków naszych przed socyalizmem założył ks. dr. Liss, nazwał pono O. Andrzej pismem socyalistycznem, a gdy redakcya tego pisma wezwała O Andrzeja do odwołania tego pod groźbą wniesienia skargi do sądu, O. Andrzej napisał do „Oręd.“, że tego, co powiedział nie odwoła i czeka, aż go redaktor „Wiar. Polskiego.“ przed sąd nie zawezwie. Jak się tam rzeczy miały z odezwaniem O. Andrzeja z „Wiarusem Polsk.“, nie wiemy dokładnie, ale fakt, że O. Andrzej posługuje się jakąś centrową „Kroniką tyg.“, i podobnemi pismami, a z „Wiar. Pol.“ nie chce mieć nic do czynienia, dowodzi, że O. Andrzej chce rodaków naszych napędzić do obozu centrowego i tym sposobem zniweczyć wszelką dotychczasową pracę innych księży Polaków, którzy zachowanie narodowości polskiej uważali obok religii za najlepszą tarczę przeciw socyalizmowi.

O. Andrzej, sądząc po zbyt śmiałych jego wystąpieniach jak na księdza klasztornego, widocznie nie jest odosobnionym i działa zapewne z natchnienia pewnych sfer, które dążą do zgermanizowania Polaków za każdą cenę.

Naszem zdaniem owe sfery, czy duchowne czyli świeckie, grubo się mylą, jeśli sądzą, że będą miały zdrowy element ze zniemczonych Polaków — przeciwnie, przez zniemczenie zapędzą ich w przeważnej części w objęcia socyalizmu. Droga to więc śliska i niebezpieczna. Myśmy pod żadnym warunkiem nie powinni dopuścić na podobne igranie z ogniem i dla tego wzywamy rodaków naszych z Westfalii, aby kierowali się rozsądkiem, aby umieli rozróżnić sprawy religijne od spraw narodowych i społecznych i wiedzieli co oddać Bogu, co cesarzowi, co konsystorzowi, a co samym sobie, jako Polakom. O. Andrzej nie ma prawa wkradać się w sferę naszych interesów narodowych. Rodacy nasi niech więc podejmą walkę, jaka ich czeka, niech w niej będą twardzi i nieugięci — ale także przezorni!“

Bytomski „Katolik“ rozwija nareszcie więcej energii w akcyi polityczno-narodowej i bierze rozbrat z taktyką trwożnego wyczekiwania. W sprawie ponownej kandydatury p. Radwańskiego w okręgu pszczyńsko-rybnickim znajdujemy tam artykuły ciepłe i jaśniejsze, które niezawodnie sprawie naszej lepiej się przysłużą od dawnej połowiczności, chwiejności, oziębłości. Poniżej przytaczamy ustęp z dzielnej pobudki wyborczej, zamieszczonej w nr. 120:

„A więc teraz co żywo do agitacyi wyborczej za p. Radwańskim. Tu się odzywamy w pierwszym rzędzie do szan. czytelników „Katolika“. Oni wszyscy dobrze sprawę rozumieją i też dobrze wiedzą, że „Katolik“ nigdy im na złe nie radził. Ruszcie się, a dołóżcie starań, aby ten kandydat nie przepadł. Musimy się starać, aby takich mężów, którzy z ludem trzymają, popierać, bo przecie wszyscy wiedzą, że lud niewielu takich mężów posiada.

Każdy czytelnik „Katolika“ niech sobie uważa za obowiązek agitować mocno za p. Radwańskim. Niech czytelnicy nasi będą przywódzcami, niech pokażą innym, którzy nie czytają, że oświata daje rozum, który potrafi osądzić, co lepsze. Niech żądają od redakcyi numerów „Katolika“ na rozdanie, chętnie bezpłatnie prześlemy. A nie wierzcie takim bajkom, że tu chodzi o jaką niedozwoloną agitacyą wielkopolską. Tu chodzi jedynie o sprawę ludową, o jak najlepszego posła dla ludu katolicko-polskiego.

Cały lud na was patrzy. Weźcie sobie za przykład powiaty Bytomski, Tarnogórski i Opolski, gdzie kandydat ludu p. Szmula zwyciężył. Patrzcie na dzielnych wyborców Prudnickich, którzy jak mur stali za p. Strzodą i go obrali. Czyby to tylko u Was tak mało ducha, serca, rozumienia sprawy i odwagi być miało, iżbyście nie zdołali posła podług Waszej woli przeprowadzić? Pokażcie, że chcecie i umiecie się bronić i o sobie radzić. Szczęść Wam Boże!“

Sprawie wyborów na Górnym Szląsku poświęca „Orędownik“ następujące uwagi:

„Z G. Szląska dziwne nadchodzą wieści, a im bliżej wyborów w okręgu pszczyńsko-rybnickim, tem wieści dziwniejsze.

W gazetach tamtejszych polskich i niemieckich walka toczy się na dobre. Co chwila słychać, że księża rzucają gromy z ambon na pisma polskie narodowe. Spór toczy się niby — o kandydata.

Tak jest, kandydat to jest ten pagórek, który oba obozy dla siebie chcą zająć, ale w gruncie rzeczy walka nie toczy się o ów pagórek, o kandydata. Walka toczy się między żywiołem niemieckim a polskim. Toczy się o to:

żeby zdławić ruch ludowy polski, na G. Szląsku powstający, a zdławiwszy go,

żeby dostać cały lud pod siebie i zwolna, łagodnie zatopić go w niemczyźnie, by lud na G. Szląsku przestał być — polskim.

O to się toczy walka, a spory między gazetami, spory o kandydatów poselskich to nie cel walki, tylko teren, grunt, na którym się ta walka rozwija...

Dziś stosunki tak się układają, że reprezentanci władz pruskich stoją przy maszynie, jaką wobec żywiołu polskiego system pruski ustawił i tę maszynę po służbie obsługują; wprost nie występują przeciw ludowi polskiemu, jak się to działo jeszcze za owych czasów, kiedy na G. Szląsku, w W. Księstwie i w Prusach Zach. śledzili osobiście każdy ruch polski specyalni komisarze polityczni, znani Rexowie. (Rex był jak wiadomo wielkim nieprzyjacielem Polaków.

Tych dawniejszych Rexów zluzowali dziś lub chcą zluzować — księża — nie wszyscy, ale pewna część.

Księży ma dziś lud polski przeciwko sobie na G. Szląsku i co się pruskim urzędnikom nie udało, tego księża mają dokazać. Położenie ludu jest więc dziś gorsze i niebezpieczniejsze; bo dawniej miał lud do czynienia z przeciwnikiem znanym w otwartem polu, dziś zaś z przeciwnikiem księdzem, którego doostatniej chwili uważał za przyjaciela swej narodowości a przynajmniej za obojętnego.

Dla nas bardzo ważną rzeczą jest śledzić manewra i taktykę, w jaki sposób niektórzy księża chcą lud posski dostać w swe sieci pod hasłami katolicyzmu, aby go potem razem z tą siecią wprowadzić do niewoli niemieckiego“.



Współcześni poeci polscy.

(Piotr Chmielowski: Współcześni poeci polscy, Petersburg, 1895, str. 494.

Chmielowski w nowym tym zbiorze szkiców i opracowań literackich użył całej zasobności i wszechstronności analitycznego swego umysłu

---

Marya Komarnicka.*)

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Dokończenie.)

WANDA.

Nie preceniam, lecz tak!... podporządkowuję mu wszystko, bo on jest celem wszystkich społecznych programów, jego rozwój ostatecznym celem wszystkich ludzkich wysiłków i koroną przyrody. Chcemy, by masy były zdrowe, wolne i syte, by te polepszone warunki zewnętrzne dały jego myśli się rozwinąć. Chcemy swobody... swobody czynów i myśli! Czyn jest tylko wynikiem myśli i środkiem do zdobycia nowej! (*z zapałem*) Przybądź wielki dniu sprawiedliwości, dniu swobody, dniu bujnego rozwoju człowieka, dniu nieskrępowanej energii... przybądź, wspaniałe królestwo myśli!...

LEON (*zgrzytliwie*).

Ogień słomiany!... A cóż pani ze sztuką zrobi w państwie myśli?

WANDA (*gorąco*).

Jam dziś odzyskała swobodę wobec absurdów pana! Pogardzaj pan, jeżeli chcesz tą wielką syntezą ludzkich wrażeń, uczuć i czynów, tym pomnikiem umarłych istnień i sprężyną przyszłych działalności!... Pogardzaj pan z wyżyn praktyczności społecznej tym potężnym czynnikiem rozwoju. Depcz to wielkie, porywające zwierzenie ludzkości przed ludzkością tym wspaniałym międzyludzkim związkiem przyjaźni... I kłam, mówiąc, żeś nie doznał nigdy uczucia zachwytu i złudzenia przed dziełem sztuki, że coś nieznanego nie zadrgało w tobie pod wpływem muzyki, że z przeczytania książki nie zostało ci nigdy nic w duszy! I to ci mało! I to pobudza cię do szyderstw i bluźnierstwa temu, przed czem dusza może nawet twoja klęka (*chwyta go gwałtownie za ramiona*) A ty człowieku! — ty przedstawicielu społeczeństwa! gdybyś wiedział, co za jad wprowadziłeś do mej duszy, zatruwając w niej wiarę w racyę bytu swej natury i jej objawów! Jak wykrzywiłeś serce, które dziś nic bez obawy nie czuje i które wątpi... tak wątpi, że już nigdy tego, co czuje, nie wypowie z trwogi przed bezwiedną blagą i kłamstwem! Jak zaciemniłeś wyobraźnię, która dziś drży przed możliwą pokutą za to, co stworzyła!... tak!... Wyście postąpili ze mną jak z nikim! Komu wyrzucacie bezużyteczność, egoizm, obłudę?... Komu czujecie się w prawie rzucać kwestyonaryusze śledcze. W czyje życie zagłębiacie się z taką okrutną bezwzględnością?... (*śmieje się gorzko*) Ha, ha! Blaga subjektywizmu nowa! Wszak nie wyście mnie skrzywdzili, krzywdzi mnie moje własne sumienie, które chwyta każde wasze oskarżenie, w które każden wyrzut, rzucony przez życie, wpada głęboko, w którem pytanie każde odbija się tysiącznem, naglącem echem. aż znajdzie odpowiedź zawsze szczerą i najczęściej złą! I poczuło się ono do bezużyteczności, do jałowej pracy, zabawki. Czy słusznie?... I nawet na chwilę zmuszoną byłam uznać w wielkim buncie i udręczeniu, że zmienić mi się trzeba... ja, wicher na skorupiaku w kredowej skale! Nie wyście winni, winne sumienie moje!...

LEON (*porywczo*).

Wando!...

WANDA (*gwałtownie*).

Nie przerywaj pan!... Słuchałam twych oskarżeń, słuchaj moich teraz! Ja się przeciwko wam buntuję!... Bo wy glistom ziemnym i gadom lęgnącym się w błocie żyć pozwalacie, lecz mnie nie! Bo wam wszystkim wolno żyć według możności lub chęci, — we mnie jest to zbrodnią... A dla czego? Dla czego? Ja wam powiem, kiedy nie wiecie, lub wyznać nie śmiecie sami!... Wam nie chodzi o użyteczność

*) Wskutek niedopatrzenia podawaliśmy dotychczas mylnie nazwisko autorki. Autorką „Skrzywdzonych“ nie jest Komornicka lecz Komarnicka.
(Przyp. Red.)

w celu wydobycia na jaw choć jednego prawdziwego arcydzieła poetyckiego z bogatej stosunkowo galeryi tegoczesnego naszego rymotwórstwa. Wyznaje jednak z żalem, że poszukiwania spełzły mu na niczem, że w poezyi dzisiejszej, odznaczającej się wielką rozmaitością nastrojów wewnętrznych i obfitością form kunsztownie rzeźbionych, spostrzegać się daje ubóstwo, a nawet zupełny brak rozleglejszych pomysłów, wielkich kompozycyi i — orlich lotów. Liczne imiona śpiewaków dowodzą, że jest śpiew i jest śpiewność, ale w sposobie śpiewania „nie tyle znać słowików lub nawet skowronków, ile pięknemi głosami obdarzonych kanarków, ślicznie odtwarzających wyuczoną nutę...“ Porównanie wspaniałe; z wielu względów starczyć ono może za streszczenie rozmyślań i uwag krytyka: dla czego się tak dzieje i zkąd się ta „uczoność“ wzięła.

Jednakże reguła przypuszcza wyjątki. W tegoczesnej poezyi polskiej są one liczne i ważne. Najgłówniejszy, zdejmujący nieomal z czoła naszych młodych wieszczów stygmat „kanarkowości“ polega na tem, że sami pisarze doskonale wiedzą zarówno o mimowolnem swojem upośledzeniu, jako też i o właściwych celach swojego powołania. W książce Chmielowskiego są na to przykłady przekonywające. Zbierzmy z nich kilka; stanowią one pewną całość, zniewalając nas zarazem do ukochania i uczczenia w szczegółach i jednostkach tego, co w ogólnym wyniku wyraziło się niemocą, rozbiciem, powszedniością.

Czem jest poezya, czem być powinna? Odpowiada na to pierwszy zaraz z kilkunastu pisarzy, umieszczony w zbiorze Chmielowskiego, autor „Widziadeł“, „Satyry“ i „Fragmentu powieści“, Leonard Sowiński: „Jeżeli chcesz być wieszczem bratnich ciżb, więc rzuć gruchania ckliwe, mądrość liczb, zdawkowych poziom wyobrażeń, — a stań się słowem wielkich wrażeń, sumieniem w ciemny wpływającem gmin, pamięcią żywą bohaterskich wrażeń i wiarą uzbrojoną w czyn“ (30). Wiadome powszechnie życie Sowińskiego: nałogowość smutna wśród trudów i wyrobnictwa literackiego. Więc w drugim z tegoż zastępu rozbitków, pełnym niegdyś największych obietnic, twórcy „Salwatora“, „Niebieskiej sonaty“, „Pytania“, „Bogumile Aspisie“ znajdujemy już tylko skurczone, korne, szyderstwem zatrute życzenie, ażeby losy zgotowały kiedykolwiek poetom naszym choć taką dolę, jaką ma szewc ze swego szydła i swojej dratwy. „Co trzeba zrobić — jest na to pewnie sposób łatwy? — by wśród próśb ludzkich powszechnych do nieba o szczęście, mógł je mieć równo mistrz łzawy rymów za rym swój jak za but — mistrz dratwy...“ (82).

Ale tuż zaraz na nowo, z Asnykiem, z Konopnicką, z Felicyanem (Faleńskim) wzbijamy się na takie wyżyny, że nawet najlichszy z naszych pisarków drugorzędnych podnosi powoli senną głowę i na pół obłąkanem wodzi dokoła pytaniem: Skądże ten pijak, ten wyrobnik, ten nędzarz spitalny, — „gdy mu namaści usta światłość błoga, drży w sobie cały i dostaje mowy? — Bowiem jest synem słonecznego boga, więc mimo głazu ziębiące okowy, święta mu z serca wypływa pożoga“ (56). I choćby niejeden z nas, „światłością namaszczonych“ zeszedł w znękaniu i strapieniu z nakazanej drogi, opuścił posterunek przykazań wielkich, przynaglony „księżycowe nikłe tęcze, rozwieszone mgły pajęcze na leciuchne tkać przędziwa, chore serca do snu tulić, białych dziewic wiotkie żale stroić w świeżej krwi korale i filonów dniowe troski w harmonijne zlewać głoski“ (90), to jednak: „sursum corda!“ niech żywi nie tracą nadziei! — berło świata zawsze w tej samej spoczywa dłoni... „Więc ja mam głos!... Pobitych krzyk jest we mnie — i łuny miast i winnic spustoszenie, i miecza ostrz przenika mnie tajemnie — i cisną mnie zelżywych pęt rzemienie... (180).

Niestety, te nasze okrzyki i te nasze łuny brzmią najczęściej i płoną — tylko jak toast, tylko jak rumieniec przy uczcie. „My tyle właśnie mamy zapału, ile go mieści czara z kryształu; tyle uniesień, co pian w tej czarze i tyle ognia, co w tym puharze... Ludy się kędyś prą falą mętną, szumem ich wzbiera dziejowe tętno, nad żaglem trzeszczą maszty przegniłe, to tylko żyje, co żyć ma siłę — a nam tymczasem młynek na strudze obraca plewy swoje i cudze... Górą mielizny! Na głębiach — giną. Niech żyje wino!... (176). A te znowuż cisnące stopy rzemienie nasze? — Cisnąć, to one cisną niewątpliwie. Ale czy nas tylko?... To jedno. Powtóre, czy pewni jesteśmy, żeśmy je wyłącznie nosili, że innym nie narzucaliśmy ich nigdy?... Ilekroć poeta, znużony podniebnym swej duszy protestem, zniży cokolwiek poziom swych wzlotów i powie sobie: „ja będę latać jako ptak zraniony, nizko, nad ziemią tą, co w bólach kona, i jak jaskółka bijąc w skrzydła drżące, latać ja będę nad nizkie zagrody, nad pola nasze i lasy szumiące i modre wody“. (170), czy zawsze wolno mu będzie zawołać z Asnykiem do matki ziemi karmicielki: „na twoich błoniach wschodzimy jak kwiaty, a ty stosowne nam wyznaczasz grządki; każdy tu dla się znajdzie grunt bogaty, swych poprzedników kwiaty i pamiątki, i każdy łacnie na tej wiośnie niwie może zakwitać silnie i szczęśliwie...“ (123).

Przewidział i to autor „Z walk życia“ i „Z prawd życia“, Kazimierz Gliński. Są niziny i są moczary, do których dostęp otwarty być może jedynie chartom i — myśliwemu; reszta służyć chyba będzie w roli naganiaczy... Nie, naganiaczami nie będziemy — powiada poeta. „Ja, który chciałem omdlałemu światu myśli siew złoty sypać dłonią hojną, dzisiaj mam rzucić świat marzeń tęczowy i własnych pragnień zaprzeć się nikczemnie?...“ Nie! — piszmy raczej o niczem. „Znasz różne pieśni — śpiewaj!... Lecz o czem? Gdzie znajdę przedmiot do pieśni?... Wiem, są pochyłe dworki i strzechy, i spora ludzi gromadka, i stare cnoty, i nowe grzechy, i pacierz siwego dziadka; i są marzenia w sercu dziewiczem, i w chmurach skrzydła sokole — jednak śpiewać muszę o niczem — i wraz lirniczą kląć dolę!“ (327). Daremne to są wszakże usiłowania, zwodniczy na siebie samego lament. Każdą na świecie potęgę usidlisz, każdego potwora uśpisz, — czujności ducha nie zmożesz. „Jak ptak nad morzem, tak na skraju świata myśl niespokojna, w skrzydła bijąc, lata, i wskroś przeniknąć pragnie nurty mętne i w ciszę rzuca pytanie namiętne“; jeżeli przeto nie dziś, to jutro, jeżeli nie szerokim gościńcem, to wązką drożyną trafi ona „na ciche pola, gdzie ranek bije smugami złotemi — i ciepłem słowem przemówi o ziemi, którą uprawiać przypadła nam dola, o jutrze, które wyorać nam trzeba“ (181). Że się to stać może, że to nieodmienna różnorodnych naszych zabiegów meta, na której ten, „co wieki chodził ciemny, przejrzy przez nas biedny lud, błyśnie w głębi blask tajemny, stanie się światłości cud“ — zadatkiem i rękojmią po temu są takie klejnoty poezyi współczesnej, jak olśniewający swą strojnością i prostotą wiejską wiersz nieodżałowanego Stanisława Grudzińskiego: „Niech o niej pieśni za całą chwałę powiedzą, że lata nizko, jak ptaszę małe nad miedzą; że towarzyszy pracy pokornej wśród potu, i nie zaznała żądzy niesfornej odlotu; że cicha, słaba, wznieść się nie może w niebiosy, i widzi całe nieba przestworze w łzach rosy, i że najmniejsza gwiazdka srebrzysta jej gwiazdą, a światem dla niej łąka ojczysta — i gniazdo“ (255).

Żywot ziemski takich mistrzów słowa, takich serc tkliwych i kochających trwa wprawdzie krótko; prześlicznie powiedział Czesław: „Zmilkł dźwięk w strunie zerwanej: przyszedł — poszedł nieznany, — ot i życie śpiewaka“ (220). Ale brata nietylko na mogiłę bracia zaniosą — jeszcze go i zastąpią. Alboż inaczej sny swe złote w chwilach natchnień rzeźbi twórca „Pustkowia“, „Paryasa“, „Z nizkich lotów“, Wiktor Gomulicki, ilekroć obdarza nas

---

mej pracy, lecz o zmianę mej duszy!... Wy *mnie, mnie* nie znosicie, bom do was niepodobna! Bo błędem dla was jest to, czego w was nie ma! Więc złem we mnie jest moja twórczość, moja potrzeba szerokiej myśli i swobodnego życia; moja dusza złożona, nie grzebiąca się w codziennym pyle; moja niepodległość, duma, wyobraźnia, moja siła! Całe moje odrębne, mężnie czoło wobec wszystkiego podnoszące indywidualne *ja!* — to tajemnica nienawiści, którą mnie otaczacie! Bo wy byście mi przebaczyli złe, lecz tylko złe, leżące w zakresie *waszych* ujemnych czynów! Przebaczylibyście wszystko współwinowajcy!... Lecz jam od was odmienna, więc zadziobać mnie chcecie, jak wróble sowę!...

LEON (*gwałtownie*).

Wando!...

WANDA (*zamyka mu porywczo usta dłonią*).

Nie mów pan, niech wyrzucę z siebie piekło nagromadzonej goryczy!... Wiedzże raz, czegoś ty chciał odemnie! Nie wielkiego i dobrego czynu, lecz pospolitości, szablonu! Wyrywałam się z zapomnienia szerszych światów, w którem żyłeś, więc ty, wściekły za to przerwanie ciszy, złączyłeś się z gawiedzią, by mnie szarpać i zdławić! I udało ci się szarpanie, bo nie należysz do duchowego motłochu i bo, chcąc skłamać, oszukać mnie, mówiłeś często prawdę! Czujesz, że mogę dopiąć rzeczy trudnych, że jest we mnie siła poświęcenia się i zgonu dla wielkich bóstw, jak siła twórcza! I siły mojej nie znosisz, chcesz odemnie tego, czego nie ma we mnie, mieszczańskiej pogody życia, pracy od śniadania do obiadu, wspaniałej równowagi wymoczków w kropli wody. I nie dopiąłeś tego, lecz wywichnąłeś mi duszę i zachwiałeś na chwilę, zbudzeniem wątpliwości, twórczością moją! (*„strząsając nim*) Jeżeli uczyniłam ci co złego, ciesz się!... Zemściłeś się!

LEON (*gwałtownie*).

Wando, Wando! Tyś okrutna! niesprawiedliwa! Ty chyba zaślepiona twoim bólem i walką, przestałaś moje pamiętać! Jam się szarpał przeciw twej mocy... jam bronił swej duszy przed twym wpływem... Jam ci słuszność przyznawał w głębi, lecz buntowałem się przeciw twej bezwiednej może tyranii! Jam ogarnąć chciał twą duszę i z rozpaczy, że mi się wymykała dawniej i przed chwilą, miotałem szyderstwa i na pół obłąkane słowa oburzenia!... Ty się narażasz Wando!... jesteś w niebezpieczeństwie i chcesz, bym obojętnym wobec tego pozostał! Wando, Wando, dla czego ja się tak szarpię, gdy cię tak kocham!

WANDA (*z gorzkim zapałem*).

Tak, kochasz, bo nienawidzisz. Bo natura twoja w miłości bezwiednie szuka odwetu, któregoby w zemście nie znalazła! Ślepe dziecko, piłko własnych popędów, ty nawet nie wiesz, że twa dawna nienawiść, jak dzisiejsza miłość, są tylko dwoma stadyami jednego procesu, przemieniającego się zewnętrznie, lecz zawsze tego samego pragnienia ujarzmienia, zdruzgotania mnie?... Twe *ja* niepodległe wołą o oswobodzenie się od mojego; a kiedy nienawiść nie uwolniła cię od więzów, więc kochasz! W miłości jest wyzwolenie od władzy kobiety dla mężczyzny. Ty chcesz posiadać moc, która cię skrępowała! Ty chcesz wolności! (*z ironią*) Twoja miłość!

LEON (*oburzony*).

A ty chcesz mnie zawsze mieć niewolnikiem!

WANDA (*gorzko*).

Nie — wyzwalaj się! Zapomnij! Jam nie zastawiała na ciebie sieci, bo nie umiem, jam cię bezwiednie tylko skrzywdziła, jeżeli cię skrzywdziłam! Zapomnij! Czas dokona tego samego, co miłość i życie wspólne: oswobodzi cię odemnie! Więc czy to nawet warto płątać się w pętach nowego życia, gdy jego wynik równa się zeru!... Tyle zyskanego, że ty unikniesz losu Kazia, a ja na sumieniu będę miała jedną krzywdę mniej.

LEON (*gwałtownie porywa jej ręce*).

Więc ty mnie jednak kochasz! Jam to czuł niekiedy w twych spojrzeniach i głosie! (*z prośbą żywą*) Wando, Wando, niech ci duma twoja milczeć teraz nie każe, powiedz, że mnie kochasz, jeżeli kochasz!...

cudnemi swemi niespodziankami: „wesołe tylko budząc w życiu echa, niechaj ofiary biorą od nas wszędzie: miłość i rozkosz, piękno i uciecha — lecz wprzód niech głodnych pośród nas nie będzie!“ (208). Alboż do innych krain dążył, ku innym światom ciążył Mikołaj Biernacki (Rodoć), kiedy po przez zaciśnięte sarkazmem usta wyrywały mu się pobożno-dziękczynne strofki: „Gdy powiodę okiem po niebie wysokiem, po świata kobiercu, gdy z miłością w sercu widzę piękne w każdej porze nasze polskie niwy — widzę Ciebie, dobry Boże! — i jestem szczęśliwy“ (280). Nawet w gronie „mniej szczęśliwych“ lub „najmłodszych“ naszych pieśniarzy nuta ta wciąż się powtarza, jako zapowiedź świetniejszego rozkwitu poezyi. Smutnie, ale nie z samolubnych pobudek, w Józefie Wierzbickim: „Słuchaj mię, bracie, mniej kwiatów o wiośnie, więcej łez trzeba; wtedy twa dusza z łez owych urośnie w górę do nieba, wtedy ci serce społeczny ból skruszy, wtedy usłyszysz wśród nizin do koła skargę ludzkości, co ciągle w twej duszy — ratuj mnie! — woła“ (408). W pewnem przyćmieniu dykcyi staroklasycznej, lecz również nie bez siły u Julii Terpiłowskiej, autorki „Borysa“: „Komu zdobyć praw do życia nie dano żelazem, ten je weźmie siłą pracy rąk splecionych razem“ (435). Silnie i doniośle u Miriama (Zenona Przesmyckiego): „Przeklęci, którzy jęczą i płakać uczą gmin, i siecią snów pajęczą zastąpić myślą czyn: cierpliwej pracy wielkiej dziś na nas przyszedł dział, musimy być jak kropelki, co żłobią głazy skał“ (442). Szerzej jeszcze i rozgłośniej u Jana Kasprowicza: „Za romantycznem nie gonimy kwieciem i egzotycznej nie pragniemy woni; nasza poezya — echem cierpień ludów, pragnieniem światła, chleba, wolnej dłoni“ (465). Górnie i dumnie u Tetmajera, gdy mówi o człowieku zbiorowym, że „naturze skarbów wziął tysiące, na szczytach wiedzy tron swój wzbił i patrzy w bytów tło drzemiące, jak król, choć jest wśród nich jak atom“ (475). Dzielnie, świetnie i huczno u Andrzeja Niemojewskiego; „Nad skargi serc małych, nad zwątpień otchłanie, my dumnie podnieśmy dziś czoło, ulecim jak ptaki zwiastując świtanie, zwiastując ludzkości dziejowe zadanie — wesoło my lećmy, wesoło!“ (487). Spokojnie, cicho i uroczo, ale w tej samej zawsze idealnie-poziomej dążności u Włodzimierza Wysockiego: „Kocham pogodną, cudną jesień naszą, jesień rumianą, dostatnią, obfitą, która na łąkach stawia sterty z paszą, i sypie w zasiek pszenicę i żyto“ (310).

Bez wątpienia są to wszystko luźne, pojedyńcze jeszcze tylko zwrotki i połyski bądź obietnicy, bądź groźby, bądź zaklęcia; czuć atoli, że się z nich zwolna i stopniowo składa całość owego wszechpoematu, o którym powiada Gomulicki: „Bohaterów pieśń tworzy i unieśmiertelnia, w dłonie mężów miecz wciska, laur kładzie na głowy i kreśli pierwszy zarys budowy“ (194). Światów nowych, ani arcydzieł staremu światu nieznanych, tegocześni nasi poeci nie stworzyli; ale pośród owej strasznej ducha martwoty, jako według słów Adama M-skiego, spada niekiedy na złamane ludy i „najdzielniejszym mężom gnuśnie pleśnieć każe“ (310), każdy z nich o sobie powiedzieć ma prawo słowami Włodz. Zagórskiego: „Przez tę skrę boską, co we mnie zaklęta, tęskni do źródła, zkąd wzięła poczęcie, przez ten głód prawdy, co ziemi odjęta — przez to wszechdobra i bóstwa pojęcie, przez to, że myślą w nieskończoność płynę — jam duch nad ziemską wywyższony glinę“ (275). Więc wszystkim im — i tym, co przed nami idą, i tym, co za tamtymi w przyszłość podążają, powiedzmy z Asnykiem na pożegnanie: „Idźcie! jak światła przystoi czcicielom, oświecać drogi ludzkiego pochodu ku coraz wyższym i jaśniejszym celom!“

J. T. Hodi.

Kobieta na scenie.

II.

W poprzednim artykule (Nr. 40) naszkicowaliśmy obraz losu artystki dramatycznej w Niemczech — obraz, w którym przeważają barwy ciemne i ponure nad różowemi — obraz, tchnący smutkiem i beznadziejnością. Nie o wiele pomyślniej, przynajmniej pod względem materyalnym, przedstawia się stanowisko kobiety niemieckiej na innych, pokrewnych polach pracy.

Przechodzimy do rozpatrzenia jednej z takich dziedzin — muzyki. Śpiewaczka ma w Niemczech przed sobą dwie drogi, by dać się bliżej poznać publiczności; może ona wydawać koncerty na własną rękę lub przyjmować zaproszenia na występy gościnne od towarzystw muzycznych. Pierwsze przysparza wiele nieprzezwyciężonych trudności dla nowicyuszki. Figurujące na afiszu nieznane nazwisko, do którego reporter kuryerkowy nie przyczepia całej litanii przymiotników w superlatywie, nie jest wabikiem dla publiczności, nie zaciekawia, nie nęci — a więc nie „robi“ kasy. W wielkich miastach, gdzie jest powódź talentów, gdzie za przystępną cenę dają się słyszeć koryfeusze miejscowi i zagraniczni, koncerty przynoszą po większej części straty. Od października do marca odbywa się w Berlinie co najmniej 600 koncertów. Nieraz artysta, stojący na cyplu sławy, niepotrafi uniknąć niedoborów w kasie. Dla początkującej artystki pozostaje jedno wyjscie, wprawdzie smutne i upokarzające, lecz konieczne, jak czasem połknięcie n. p. gorzkiej pigułki: szukanie protekcyi u krytyków i w kołach haute finance, która za muzyczne osłodzenie swych herbatek i libacyi wywdzięcza się rozkupieniem biletów. Choć sala świeci pustkami, kasa jednak jest pełną. Gdy koncertantka zyska w głośnym krytyku poplecznika, jeszcze nie może być pewną zwycięztwa, albowiem tego samego wieczora idą z nią w zawody inne siły artystyczne. To też artystki muszą nieraz, tłumiąc podszepty dumy, dawać z rzędu, po pięć, sześć, siedem a nawet osiem koncertów, by wreszcie skaptować coute que coute wybrednych i rozpieszczonych Berlińczyków. Niezawsze rzeczywisty artyzm idzie w parze z powodzeniem; Niemcy są w większym stopniu amatorami, niż znawcami muzyki. By dotrzeć do ich serca, nie należy zaniedbywać błyskotliwości, efektów i wszelkich innych forteli artystycznych. Każdy artysta powinien przedewszystkiem oddać się pod opiekę ruchliwego agenta. Trudno sobie wyobrazić wokalną produkcyę przed publicznością bez tego factotum. Agent umawia się i handluje z pismami, szuka protekcyi u potentatów miejscowych, wynajmuje lokal, podejmuje się sprzedaży biletów, wyszukuje klakę — jednem słowem, używa wszelkich środków dla zapewnienia powodzenia swej protegowanej i... ofierze. Ten duch opiekuńczy, ten stróż-anioł potrąca z dochodów za swą anielską dobroć i liczne usługi pokaźną a nawet lwią część dla siebie.

Nieco zyskowniejszemi są zaproszenia towarzystw muzycznych; 80 z pośród tych korporacyi w Niemczech zaprasza artystki na występy gościnne. Do ostatnich czasów przeciętne honoraryum od debiutu wynosiło 300 marek. Lecz i tu nadprodukcya sił artystycznych pogarsza sytuacyę. Pierwszorzędne gwiazdy świata muzycznego Niemiec zadawalniają się nieraz 150-ma markami! Wyjątek pod tym względem stanowią nieliczne wybrane, które miały szczęście wejść w modę. Od czystego dochodu należy jeszcze odliczyć wynagrodzenie agenta za jego pośrednictwo, koszta podróży, koszta utrzymania damy do towarzystwa w podróży i wreszcie — last not least — toaletę. Mężczyźni mają tę wygodę, że dla swych występów potrzebują specyalnie tylko fraka, który w dodatku nie niszczy się tak prędko, jak suknia.

Lepsze interesy robi śpiewaczka, gdy wynajmuje swój głos dyrektorowi teatru. Musi się

WANDA (*zasępiona*).

Czy cię kocham?... Niewiem! (*wzburzona*) Lecz nie... nigdy! Nigdy niczyją być nie chcę. Nie chcę należeć do żadnych stronnictw, jam sama stronnictwem... Ani do żadnych „kierunków“ myśli — mam własną myśl! Ani do mężczyzny, bom za mało kobietą. I twoją, twoją zwłaszcza Leonie być nie mogę... nie mogę należeć do człowieka, który własnej swobody szuka w zgwałceniu mojej... Chcę być wolną!...

LEON (*namiętnie*).

Nie ty do mnie, lecz ja do ciebie należę! Będziesz wolną!... (*wzburzony*) Więc myślisz, żem tak pospolity, że mając miłość twoją, deptać będę, com ukochał i uwielbił przed dostąpieniem ciebie?...

WANDA.

Kochałeś, depcąc! Tyś jednym z tych, którzy policzkują własne bóstwa, szydzą z tego, co miłują, jak z własnej duszy. Męczą tych, których pragną uszczęśliwić, i zabijają tych, którym dać chcą życie... Co ty wiesz o sobie?

LEON (*wzburzony*).

A czyś ty pewna, że wszystko wiesz o mnie? Skąd ta pewność w tobie, żem gadem, że we mnie nic lepszego nie ma? Tyś sama mówiła kiedyś, żem mięszaniną dobra i złego, że tylko brak wiary w swe wyższe pierwiastki i brak odwagi stania się czemś lepszem, utrzymują mnie na poziomie ogółu. I jam uwierzył, boś ty to mówiła, bo to było prawdą. A dziś, gdy z pomocą twoją chcę zostać tem, czem mnie mieć chciałać kiedyś, ty upokarzasz mnie brakiem ufności i odbierasz wiarę, którą wziąłem od ciebie!

WANDA (*ponuro*).

Nie chcę walczyć. A mybyśmy się wiecznie szarpali oboje. Oboje zbyt jesteśmy niepodlegli, zbyt gorzcy. Nie chcę! Zmęczona jestem!

LEON (*drwiąco*).

Tyle razy chwaliłaś się swą siłą, a dzisiaj mnie się obawiasz...

WANDA (*j. w.*)

Mam dość indywidualnego życia.

LEON (*j. w.*)

Gdzież twoja zasada najbujniejszego życia? Dziś daje ci ono samo sposobność nowych wstrząśnień, a ty je odrzucasz!...

WANDA (*gorzko*).

Nowe!

LEON.

Ha, może dla tego go nie chcesz, że u stóp ci pełza, zamiast być zawieszonem w chmurach, jak spleśniała kiełbasa dla szczurów w śpiżarni.

WANDA (*z ironią*).

Jeżeli chcesz, — brak mi odwagi...

LEON (*wstrząsa jej rękoma*).

Wando! Nie bój się!... Ja raj ci stworzę, ja ci dam szczęście!

WANDA (*smutnie, szyderczo*).

Szczęście!...

LEON (*namiętnie*).

Tak!... Czuję w sobie ogromną potęgę dania tobie i sobie i tylko nam! szczęścia! szczęścia nie w zrozumieniu wszystkich, lecz takiego, które ty swą chmurną duszą odczuć zdołasz i którego odczucie w tobie będzie dla mnie niewymowną rozkoszą... Wando, rzuć niewiarę! Szczęście istnieje dla ciebie... Wando, niech duma twoja nie pozbawia ciebie jedynego może przywiązania, a mnie możności szczęścia i rozwoju... (*błagalnie*) Powiedz, — powiedz Wando!

WANDA (*cicho, energicznie*).

Chcę być wolną!...

LEON (*zrywa się i chwyta kapelusz*).

Więc bądź wolną, potworna egoistko swobody; bądź wolną wśród pustyni, niewolnico swej żądzy niepodległości; marznij i zgrzytaj zębami w lodowej pustce i odosobnieniu! Niechaj kiedyś istotą twoją wstrząsa spóźnione pragnienie miłości; niechaj wtedy dusza twoja i nerwy wiją się w szale tęsknoty za życiem wspólnem, za szczęściem! — niech przedwczesna starość twoją spopieli żądza życia, a pod zwiędłem, spalonem przez żar dręczonych pragnień ciałem, pęka samotne, przez żal za pustem życiem rozrywane serce; żyj swobodnie wśród chłodnych mgławic myśli, wśród ognia muzyki

zgodzić na to, by przez niejakiś czas nie pobierać zupełnie pensyi. Dyrektorowie motywują swoje postępowanie niby tem, że pierwszy czas występów jest szkołą przygotowawczą dla praktyki scenicznej. Ten wygodny dla dyrektorów zwyczaj jest wyzyskiwany na wielką skalę; przeciętny teatr prywatny posiada na dwie płatne śpiewaczki — 4 do 5 wolontaryuszek. Po upływie niejakiegoś czasu artystka zaczyna pobierać skromną pensyę 120—150-ciu marek miesięcznie, skromną, jeżeli zważymy, że rok teatralny liczy w Niemczech 7—8 miesięcy. Teatry nadworne, których Niemcy posiadają co niemiara, nie są hojniejsze... Najwyższa pensya wynosi w tym wypadku 500 marek. Rozumie się, że i na tem polu operuje agent teatralny. Niema artystki, któraby nie wpadła w sieć tego pająka. Agent jest prawie utrzymywany przez swe ofiary, gdyż tantyemę swoją pobiera przez cały czas trwania kontraktu, zawartego za jego pośrednictwem.

Ostatnie miejsce pod względem ekonomicznym zajmuje wśród artystek pianistka. Niestety, artystki tej kategoryi mają zawsze nieco wybujałe pretensye; gdy Niemka potrafi rzępolić na fortepianie „Modlitwę dziewicy“ lub „Wanderera“ Schuberta, nie dają jej już spać laury Paderewskiego... A tymczasem mniej, niż jakiśkolwiek inny artysta, potrafi pianista w Niemczech przyciągnąć publiczność. Może on wzlecieć wysoko, unosząc się z początku na ogonie jakiegoś śpiewającego ptaka. Są to tak nieliczne wyjątki, że nie mogą iść w rachubę. Po kilku nieudanych próbach, aspirantka daje za wygraną, przestaje marzyć o szybowaniu w wysokich sferach tryumfów artystycznych, schodzi na niziny i zwraca się do mozolnych a niepopłacających lekcyi muzyki. Na tem polu istnieje w Niemczech konkurencya większa, zdaje się niż u nas. Ileż to zgłodniałych i zbiedzonych życiem artystek wyciąga rękę po marną lekcyę za obiad lub 50 fenygów! Nauczycielka muzyki w Berlinie jest chyba najnieszczęśliwszą i najbardziej godną współczucia istotą. Muzyka otwiera jeszcze jedno pole chlebodajne, przynajmniej w ironicznem tego słowa znaczeniu, gdyż pozwala zarabiać tylko na chleb. Mówimy o kompozytorstwie. Niemcy posiadają niewiele kompozytorek, któreby mogły się utrzymywać z twórczości muzycznej. Po większej części są to damy, które szukają rozgłosu i dla osiągnięcia takowego nie szczędzą żadnych wysiłków.

Stosunki na tem polu są ciekawe, że poświęcimy im słów kilka. Dochody może mieć niemiecki kompozytor w dwu wypadkach: gdy jest twórcą z Bożej łaski lub gdy układa muzykę dla ulicy i knajp, gdy zniża się i popularyzuje do takiego stopnia, że utwór jego wygrywa każda katarynka, wyśpiewuje każda pomywaczka i wygwizduje każdy terminator szewski. Twórcy wesołych piosenek i ulotnych walców robią nienajgorsze interesy. Najtrudniejszym jest pierwszy krok. Początkujący kompozytor musi być zadowolony, gdy jego pierwociny wychodzą nakładem znanej firmy lub jego własnym. W razie, jeżeli powodzenie wieńczy jego pracę, dowodzi to, że wpadł na właściwą drogę. Wtedy powinien kroczyć w tym samym kierunku, nie robiąc żadnych zygzaków, odstraszających zwykle publiczność. Utwór, przeznaczony dla śpiewu lub kompozycyi, musi przedewszystkiem znaleźć odpowiedniego wykonawcę, któryby wyprowadził w świat pierworodne dziecko autora.

Twórcy oper tylko w wyjątkowych wypadkach mogą się pochwalić materyalnem powodzeniem. Partytura, wręczona dyrekcyi teatru, spoczywa tam lata całe, nim autor otrzyma ostateczną odpowiedź. Jeżeli jest biednym, musi sam pisać kopie partytury, dla przedstawienia dyrekcyom innych teatrów — a to wymaga dużo czasu. Po otrzymaniu przychylnej odpowiedzi — co ma przecież miejsce niezbyt często — i po zawarciu kontraktu, partytura znowu idzie do archiwum; zdarzało się kilkakrotnie, że kompozytorowie starzeli się i wędrowali do kraju cieniów, nie doczekawszy się wystawienia swojej sztuki, w którą włożyli tyle pragnień i myśli, tyle cierpień i bezsennych nocy, tyle duszy i życia! Powodzenie opery zależy od tak różnorodnych okoliczności, iż w ostatnich czasach dyrektorowie żądają od kompozytorów zwrotu kosztów wystawionej premiery. Karyera więc muzyczna, jak widzimy, jest w Niemczech wogóle a zwłaszcza dla kobiet nieszczególnie zyskowną.

Co się tyczy sztuki stosowanej, to jest ona uprawianą po większej części przez panie, pochodzące z wyższych sfer. W tym razie nie służy ona za źródło utrzymania, gdyż dostarcza tylko funduszu dla drobnych zbytkownych wydatków, t. zw. „kieszonkowe“. Lecz biada pannie domu, gdy zawierzy swym widokom zarobkowym, opierając je na swej znajomości sztuki stosowanej. Dozna ona z pewnością zawodu, gdyż podaż na tem polu jest tak wielką, iż praca opłaca się wyłącznie tym tylko osobom, które z innych źródeł pokrywają swe pierwszorzędne potrzeby.

Zarówno sztuka, jak nauka nie daje pewnej opory kobiecie, gdy chce o własnych siłach wywalczyć sobie byt.

Najbardziej przepełnionym jest zawód nauczycielski. Gdy o uszy „höhere Tochter“ odbiją się kilka razy piękne słowa o emancypacyi kobiet i o konieczności zabezpieczenia siebie znajomością jakiegoś fachu, postanawia zdać egzamin nauczycielski, by w ten sposób dać olśniewający dowód swej samodzielności. Bogaci zaś rodzice dają swe błogosławieństwo, uważając ten zawód za „standesgemäss“, za nieplamiący rodziny. Aspirantki wstępują pomiędzy 16-tym a 20-tym rokiem życia do seminaryum nauczycielskiego. Takich zakładów państwowych w Prusach jest dla mężczyzn 100, żeńskich zaś tylko 7: 3 ewangielickie, 2 katolickie i 2 mieszane. Osoby, kończące dane zakłady lub kształcące się prywatnie, składają egzamin przed komisyą państwową. Nauczycielka ludowa w Prusach otrzymuje 1000 do 1200 marek rocznie. Istnieje wprawdzie pensya roczna, wynosząca 2400 marek, lecz na 8450 nauczycielek pruskich jest ona udziałem zaledwie dziewięciu! Ponieważ dostęp do szkół państwowych jest utrudniony, a w wielu wypadkach wprost niemożliwy, przeto nieprzejrzana moc kandydatek zgłasza się o posady do szkół prywatnych. Pensya tu oczywiście kurczy się do strasznie drobnych rozmiarów, do jakichś 400 marek rocznie, co równa się naszym 180-ciu rublom. Z takich środków wyżywić się w mieście niesposób.

W r. 1873 i 1874 koleje i biura telegraficzne zaczęły przyjmować kobiety. Wkrótce cofnięto wydane w tej mierze rozporządzenie, lecz znajdujące się już na służbie pozostawiono, podnosząc im w r. 1887 pensyę do 1500 mr. rocznie. Od kandydatki na posadę telegrafistki wymagają świadectwa z ukończenia szkoły telegraficznej, istniejącej w Berlinie od r. 1859. Urzędy pocztowe w ostatnich latach niedopuszczają kobiet do pełnienia w nich służby. Za to otworzyły się liczne wakanse telefonistek, gdyż rząd, jak wiadomo, posady tego rodzaju chętniej powierza kobietom, niż mężczyznom, praktyka bowiem wykazała, iż głos kobiecy brzmi w rozmowie przez telefon wyraźniej. Doświadczenie dowiodło niestety jednocześnie, że służba przy telefonie rozstraja silniej system nerwowy kobiecy, wskutek czego obecnie telefonistka jednego dnia jest na swym posterunku przed obiadem, drugiego dnia po obiedzie. Pensya jest i tu bardzo skąpą; przeciętnie wynosi dziennie 2,25 do 3 marek.

Co się tyczy zawodów liberalnych, to są one dotychczas w Niemczech zabarykadowane dla kobiet pewnemi przeszkodami. Wprawdzie lekarki (które bez wyjątku skończyły studya w Szwajcaryi) są tolerowane w Niemczech, lecz nie mają prawa przepisywania recepty i sporządzania aktu zejścia. Kiedy wreszcie zostanie kobietom udzielone prawo praktyki — niewiadomo, lecz w każdym razie stare prawa, krę-

---

twej bez słuchacza; ty dźwiękom kiedyś zazdrościć będziesz siły i ciepła; ty wtedy przeklniesz twórczość swą i działalność, przekolniesz te potworne pasożyty twej duszy za zabicie człowieka, kobiety w tobie... Ha! ty człowiekiem być nie chcesz?... Żyć po ludzku jesteś zbyt dumną?... Przyjdzie chwila, że konać będziesz z rozpaczy, że nikt o tobie jako o człowieku nie myśli!...

(*Wanda blada, nieruchomo patrzy na niego*).

LEON (*gwałtownie, przysuwając się do niej*).
Więc nie, nie, nie?

WANDA (*blada, dobitnie*).
Nie.

LEON (*otwiera drzwi, wychodzi — wraca, chce coś powiedzieć, lecz wstrzymuje się i przez zęby*)
Potworze! (*wybiega*).

WANDA (*długo patrzy na drzwi otwarte, idzie i zamyka je na klucz, oddychając silnie*).

Skończone!... (*chodzi po pokoju z bólem w twarzy; staje nagle*). A dziś zgromadzenie... (*zaczyna się ubierać*) Mówił, że mnie śledzą... (*szyderczo*) Niech śledzą! Wszystkie papiery oddane... a jeżeli mnie wezmą... pójdę tam, gdzie pustka i chłód... gdzie zginęło tylu... (*zgrzytając zębami*) Wolna! (*zapalczywie*) I tam będę wolna... I ztamtąd się uwolnię!... (*staje zadumana, ubrana do wyjścia*) A jednak... (*stanowczo*) Nie, to było niemożebne! Musiałam go stracić!...

(*gwałtowne stukanie*).

Kto tam?

(*Głos żandarma*).

W imię prawa!

WANDA.
Bezprawia!... (*otwiera drzwi*) Kogoście zgubili?

ŻANDARM.
Mamy rozkaz aresztowania pani.

WANDA (*szyderczo*).
Mnie? proszę! I za co? Czym komu co skradła, kogo zabiła?...

ŻANDARM.
Mamy rozkaz.

WANDA.
Ba! Słuchać trzeba! I gdzie mnie panowie macie zaprowadzić? przed majestat cyrkułu? A czy tam znajdę fortepian?

ŻANDARM.
Chleb i wodę.

WANDA.
To będę na zębach wygrywać musiała swe kompozycye...

ŻANDARM.
Wy byli ubrani do wyjścia. Gdzie wy szli?...

WANDA.
Chciałam być gotową na drogę do sprawiedliwości.

ŻANDARM.
A ten pan, który od pani wyszedł teraz, co za jeden?

WANDA.
Jaki pan? Jesteś pan mym pierwszym gościem dzisiaj.

ŻANDARM.
Nie ukrywajcie, bo my widzieli. To gruba ptica.

WANDA (*do siebie*).
Więc i on... Leonie, na co tyle kłamstwa! (*do żandarma*) To pan lepiej wiesz odemnie; zapewne kolega cywilny?

ŻANDARM.
A ta szkółka ukryta... Dzieci wyśpiewali wszystko, gdy im się dało w skórę...

WANDA.
Ba, uczyłam je kochać cara.

ŻANDARM.
To wy nie wiedzieli, że to nie wolno?

WANDA.
Ktoby to wiedzieć mógł! No, no, stupajko! w drogę! (*otwiera drzwi, wychodzi, rzucając gorzkie*) Wolni!

(*Wychodzą*).

KONIEC.

Lwów 1894 r.

pujące wolność kobiety, dobiegają już kresu... Sądząc z tego, że uniwersytety niemieckie otworzyły dla kobiet swe podwoje, dotychczas szczelnie przymknięte, należy przypuścić, że i rząd zrobi wkrótce ustępstwa nowym prądom emancypacyjnym, nurtującym niemieckie społeczeństwo i dążącym do zniesienia praw wyjątkowych dla kobiet. *H.*

Sylwetki poetów czeskich.

I.

Świętopełk Czech.

Świętopełk Czech uprawia już pole poezyi lat 20 z góry. Urodzony w roku 1846 wydaje pierwszy zbiorek „Baśnie“ w r. 1874. Fantazya morska „Burza“, obrazek historyczny „Adamici“ i biblijny „Anioł“ zwróciły uwagę ogólną. W ostatnim Czech przedstawia upadek anioła, stworzonego przez Boga z jego łzy ku pociesze ludziom; anioł zapłonął ogniem miłości ku ziemi córze i za karę musi istnieć między ziemią i niebem, dotykać rzeczywistości i marzyć o ideale. W „Adamitach“ maluje autor życie rozpustnej sekty, powstałej w XIII wieku, rozpowszechnionej głównie we Francyi, a szerzącej się w Czechach w XV stuleciu. Poeta odtwarza tu różnej siły namiętności. Postacie wychodzą żywe, korzystają ze swobody w postępowaniu, głoszą kult ciała i rozkoszy zmysłowej, nie uznają Boga, jeno siebie i życie. Wśród zgiełku i używania, wśród tych par nagich, nie połączonych węzłami kościoła znajduje się jedna postać męzka, dążąca do prawdy, która też w końcu odrzuca zasady sekty — to Adam. Ma on zginąć za to na stosie. Tymczasem Żyżka, wódz Taborytów rozbija obóz adamicki. Cielesność ulega moralnym Taborytów siłom. Ale Adam nie jest zrozumiany, bo, gdy na zapytanie „w kogo wierzy“ odpowiada „szukam“, Taboryci palą go niemiłosiernie, jako istotę gorszą jeszcze od Adamitów.

Adamici, to najognistszy i najjędrniejszy wśród utworów Czecha, przewyższający nawet znacznie cenioną w Czechach „Europę“, w której poeta skazuje naszą przeżytą i przenihilizowaną część świata na zgubę na korzyść młodej, silnej Słowiańszczyzny. Jesteśmy na okręcie, odwożącym z Europy wygnańców, przerabiaczy społeczeństw. Ci powstają na morzu i broczące we krwi zdobywają ster okrętu. Nie dobili jednak do portu. Okręt pozbawiony umiejętnych kierowników, oddany w ręce żywiołu kłótliwego, nie może przetrwać burzy, jaka się nad nim zerwała — i tonie. A wschód rozsiewa swe blaski. Wprawdzie idea przeprowadzona chroma czasem na sile wyrazu, za to wiązanka obrazów morskich nęci świeżością i prawdą.

Czech od początku wystąpienia okazał pociąg do eposu. Najlepszym tego wyrazem jest „Wacław z Michałowic“. Tu poeta osięgnął największy spokój w malowaniu, nie zatracając dawnej jasności i siły plastyki. Utwór ten, to cenny kamień w zbiorach pieśniarza.

Wacław, syn wolnomyślnego patryoty czeskiego, ginącego śmiercią skazańców, dostaje się przypadkiem, mając ledwie lat parę, w ręce Jezuitów, którzy go wychowują na posłuszne kościoła narzędzie, używając systemu okłamywania i szpiegostwa. Kim jest Wacław dowiadujemy się z ust przodownika jezuickiego podczas wspaniałej uczty w refektarzu.

Wacław ślepo oddany jest kościołowi, bo źródłem wiedzy są dlań słowa przełożonych. Biada! jeśli usłyszy idee nowe. Natura to namiętna, ognista, milcząca i ponura, ale głęboka. I oto Wacław usłyszał prawdę z ust spotkanego sługi ojcowskiego, od którego otrzymał nadto pozostawioną mu przez ojca książkę. Za tydzień spotkają się i umkną, jeżeli księga wznieci bunt w duszy Wacława. Ale w klasztorze zdradza go przyjaciel Konrad, wyłudziwszy zeń przyczynę zadumy. Niestety, za późno, Wacław przeczytał już pamiątkę ojcowską, pojął jądro walki religijnej i społecznej, odczuł głęboko śmierć ojca i teraz więziony i morzony rzuca mnichom przekleństwo i pogardę w oczy. Sceny więzienne, kwestye omawiane między Wacławem i mnichami, są silnie dramatyczne, a Czech oddał z potęgą prawdy zarówno oburzenie i zapał młodzieńca, jak przebiegłość i wysuszenie serca mniszego. Bohaterowi udaje się wydobyć tajnem wyjściem na wewnętrzną galeryę kościoła, zkąd podburza lud do walki. Wtem dobiega go Konrad, następuje borykanie, zgubne dla obu, bo i katolik-jezuita Konrad i wiary czeskiej Wacław spadają z góry na posadzkę kościelną, gdzie ponoszą śmierć.

Milutkim, barwnym, tchnącym miłością do życia wiejskiego jest obrazek „W cieniu lipy“, pod którą gwarzą wieczorem rolnik, młynarz, krawiec, stary wojak i kilku innych o przygodach młodości. Są tu dykteryjki, układające usta do śmiechu, są i takie, co zrodzą łzę, a wszystkie opowiedziane mową właściwą.

„Czerkies“, zobrazowanie krańcowego patryotyzmu, „Zimna noc“, pełna nadziei w Słowiańszczyznę „Żyżka“ i dwa obrazki satyryczne: „Hanuman“, gdzie poeta przedstawia reformy śród rodu małpiego, wyśmiewając naśladownictwo i czerpanie z obczyzny, satyra dobrze poczęta, lecz na końcu w myśli przewodniej powikłana, — i zwłaszcza wielce udatne „Petřkliče“ (Pierwiosnki), historya wypadków, spowodowanych złotemi raju kluczami, upuszczonemi przez Piotra na ziemię — uzupełniają wizerunek literacki Czecha z pierwszego szczęśliwego okresu jego działalności. Okres to więcej fantazyjny, kosmopolityczny, w przeciwieństwie do następnego, kiedy poeta czerpie materyał z rzeczywistości, z dnia dzisiejszego, podając narodowi swe ideały społeczno-patryotyczne i ośmieszając jego usterki.

Jako satyryk był Czech poprzednikiem Machara, jeno że ten głębiej sięgnął i radykalniej na lutni wyśpiewał swój śmiech bolesny, a pomimo to nie wykrzywił poezyi. Czech zaś w drugim okresie zdobywa się najczęściej na rymowaną prozę, co mu nie przeszkadza być dziś najpopularniejszym poetą, trafił bowiem w serce ludu, uderzył w strunę narodową i społeczną.

W „Kowalu Leszetyńskim“ mamy walkę z Niemcem o grunt i ostateczne zwycięztwo kowala. Opowieść zabroniona w Czechach, pełna dźwięków ludowych, nie dorównywa dawnym utworom. „Nowe pieśni“ i „Ranne pieśni“ rzucają, prawda, garstkę myśli dość zdrowych, nie zawsze przecież jasnych i silnych; rozbrzmiewają one czasem pobudką patryotyczną, zresztą dość powszednią, ale zwłaszcza w „Nowych“ nie czuć woni poezyi. Największym rozgłosem cieszą się „Pieśni niewolnika“ (21 wydań). Lecz i tu opuściła poetę przejrzystość. Najładniejsze są te miejsca, gdzie Czech maluje naturę, którą umie odtwarzać, i ustępy miłosne zbiegłego „glebae adscripti“.

Poeta wydał nadto utwory „Dagmas“ i „Hanię“, nieprawe dziecię „Europy“, rozstrzygające kwestyę słowiańską za pomocą żeniaczki olbrzymiego Rosyanina z delikatną Polką, oraz „Prawdę“, gdzie autor odbywa podróż z nagą prawdą, ukazującą mu wszędzie zawoalowaną nieprawdę. Są to jednak niejako skazy na pomniku ukutym przez poetę pierwszemi pieśniami.

Myślą przewodnią utworów Czecha jest przyszłość zgodnej Słowiańszczyzny, miłość do kraju, rolnictwa i wiara w Czechy. Język piękny, barwny, gdzieniegdzie silny. Osnowa kompozycyi zazwyczaj bardzo prosta. Czech z prawdziwą lubością tylko maluje, używając mowy pełnej świeżego i wonnego kwiecia. Materyał w jego pieśniach niezbyt obfity, za to zazwyczaj starannie opracowany i przemyślany. Więcej to epik niż liryk, przytem szczery i

---

KAZIMIERZ TETMAJER.

Rzeźbiarz Merten.

(Kontur do noweli.)

(Ciąg dalszy.)

— A cóż jest — tam?...

— Tam?... Czy ja wiem... Jabym chciał, żeby tam nie było nic i jestem prawie pewien, że tam niema nic. A jednak...

— A jednak nie jesteś i tego pewny, czy ci zginąć ktoś pozwala, albo nie pozwala, czy się co miesza do ciebie, albo nie, prawda?

I dla tego jest mi jeszcze gorzej, bo gdyby tam nie było nic — ale, jeżeli tam jest coś, jeżeli tam jest ten Bóg, jeżeli on patrzy na nasz dom, na mego ojca i na moją matkę i na mnie samego wreszcie... Nie. Krążel, tam może być tylko ślepa i głucha konieczność i tylko ona tam jest. Trzeba się poddać, albo wyrwać.

— Wyrwać? Łatwo się to mówi.

— Tchórz tylko nie może się zdobyć na taki krok, powtarzam ci, tchórz. Głupstwo jest mówić, że ktoś z tchórzostwa przed życiem w łeb sobie strzela. Życie czasem nie da się znieść, ale najgorsze nie przeraża tak, jak śmierć. Co mnie tu spotkać może, wiem, mogę nie czuć w sobie sił, mogę nie chcieć walczyć, ale tam — tam, gdzie nie wiem nic...

— Ej, co my tam o tem wygadamy — przerwał Krążel — nie tacy gadali, a nie wygadali nic. Słuchaj, Julek, robisz ty biust tego Gorzyckiego?

— Jakże mam robić? To już prawdziwy pech! Gorzycki chce pozować tylko do głowy, a resztę mam zrobić z modelu i to nietylko w glinie, ale nawet w marmurze, nawet głowę w marmurze mam obciosać, a on potem tylko do podobieństwa i wykończenia chce pozować na gotowem popiersiu.

— Dziki cymbał!

— Pewnie, że dziki pomysł, ale to taki dla mnie pomysł. Mam mu w marmurze wykuć popiersie, a ja nietylko na marmur, ale na glinę i na modela nie mam.

— Nie słyszałem o takim obstalunku.

— I ja nie. To jak na złość.

— A żebyś mu powiedział.

— Niema go tu, jest we Francyi, czy gdzieśindziej jeszcze. Przyjedzie na tydzień może i chce przez ten czas dać się sportretować.

— A żebyś do niego napisał?

— Czy ja wiem, gdzie on jest? Zresztą myślałem, że będę miał pieniądze, że będę miał za co skończyć moją „Wizyę“ na konkurs. Co miałem, musiałem posłać do domu. Dobrze, że tam choć o konkursie nie wiedzą.

— To już prawdziwy i osobliwy pech.

— Taki mój pech. Wiesz, mój los, to jest taki. Gdybym był na pustyni i umierał z pragnienia, tobym niechybnie trafił na całe morze, ale gnojówki. Pićbym miał co, do zbytku, ale takiej wody, żeby jej pić nie można było. I ta ironia losu, to szyderstwo życia, to jest gorsze, niż samo złe. To doprowadza po prostu do obłędu, do szaleństwa, wściekłości i rozpaczy. Masz uczucie, jakby ci kto rękę w śruby wykręcał i uśmiechał się do ciebie równocześnie; wolałbyś, żeby ci plunął w oczy i pałką rozbił czaszkę. Czy nie?

— Do widzenia. Psu na budę takie życie. Może chcesz, wezmę drugą szóstkę i przyniosę ci co?

— Nie, dziękuję. Jak chcesz, to weź dla siebie.

— Chciałbym być u ciebie ekonomem i takby być powinno. Pojechalibyśmy teraz w pole, ty byś się woził na koźle, ja za tobą na siedzeniu z furmanem. Siano by nam pachniało, dziewki by się czerwieniły gdzie przy burakach, a od boru ciągnie szum pachnący, a nad nami jaskółki fiut! fiut! Twoją żonę w białym dworze w rękę bym na werandzie całował. A czyjeż to takie zboże, takie konie, taki dwór? pytaliby ludzie. A pana dziedzica, Juliusza Jastrzębca Mertena dwór. A któż mu

poważny, choć niezawsze pewny siebie, — częstokroć nie dopowiada.

Św. Czech był przez lat 3 współredaktorem pisma „Lumir“, a od r. 1877 wydaje miesięcznik „Kwiaty“. Opisał kilka podróży, wydał 4 tomy powiastek, kilka satyrycznych wycieczek pana Broniczka na księżyc, do XV stulecia, i do Czech dzisiejszych, gdzie nader płynnie językiem niepozbawionym harmonii i ostrości wytyka braki w urządzeniu społecznem, wady Czechów, nieporządki miejskie i falowanie przekonań politycznych stosownie do okoliczności. Jako satyryk znany jest jeszcze z „Gadki o ptaku Wielikanu Wielikanowiczu“ i z „Szotka“ (Psonika). Napisał też Czech romans historyczny „Kandydat nieśmiertelności“.

Z. Makowiecki.



JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

Niepodobna sobie wyobrazić bardziej rażącego kontrastu, jak stosunek rosyjskiego i polskiego chłopa do ich religii i jej przedstawicieli. Prawowierność i nabożeństwo pierwszego nie przeszkadza mu uważać popa za coś podrzędnego, figurę w części komiczną, w części godną lekceważenia. Za zły prognostyk uważane jest u nich spotkanie popa na drodze; ten nie różni się od prostego chłopa prawie wcale wykształceniem, a że ma więcej od niego pieniędzy, więc posiada możność częstszego upijania się. Czego też sobie bynajmniej nie żałuje. Życie takiego popa na wsi jest nieustannem pijaństwem, wytrzeźwia się on rzadko i chyba na bardzo krótko.

Polski chłop przeciwnie, ma wiele szacunku, nieledwie cześć dla swych księży. Władza katolickiego duchowieństwa była właściwie jedyną, która się utrzymała w ciągu wieków i była niezaprzeczoną i nienaruszoną w burzliwej Polsce. Księża mają wpływ na lud, jak to się niejednokrotnie przy spowiedziach okazuje, a nierzadkiemi są przez ich pośrednictwo restytucye rzeczy lub pieniędzy ukradzionych. Chłop skruszony i żałujący swej winy, nie odnosi ich sam, lecz powierza księdzu, by ten je zwrócił poszkodowanemu.

Pobożność rosyjskiego chłopa nie wyklucza pewnej przebiegłości i wykrętów z jego strony, nawet w stosunku do świętych. Opowiadają anegdotę, że chłop z koniem i wozem wjechawszy na niemocny lód, zagrożony utonięciem, wzywał pomocy św. Mikołaja, obiecując mu wartość konia w ofierze, gdy cało przedostanie się na drugą stronę rzeki. Stało się tak i odtąd cały wysiłek chłopa zwrócony był ku temu, jakby się urządzić, by nie łamiąc danego świętemu słowa, uniknąć tak znacznej ofiary. Koń był wart ze 100 rubli. Nagle błysnęła mu myśl szczęśliwa, pojechał więc na targ z koniem, który zaraz znalazł amatora.

— Ile chcesz za tego konia? — spytano go.

— Pięć rubli.

— To żarty zapewne, ale ma się rozumieć, że ci je dam chętnie.

— Tak, ale ja postanowiłem sobie nie sprzedać go inaczej, jak razem z tą kurą, którą cenię 95 rubli — odpowiedział.

Targ przyszedł do skutku. Św. Mikołaj dostał 5 rubli. Stosunek tutejszego włościanina do jego świętych jest bardziej naiwnym; niema tam zapału i fanatyzmu włocha, lecz chłop polski zdolnym jest zatopić się przez długie chwile w pokornej modlitwie przed nimi. Po nabożeństwie, jak wyżej powiedziałem, odbył się na plebanii obiad dla przybyłych z dalszych stron księży, okolicznych obywateli i *honoratiores*. Miejscowy ksiądz, biorący 150 rubli pensyi, do której dodawszy wszystkie możliwe dochody nie osiąga sumy wyższej nad 600 do 700 rs., nie jest w stanie urządzać wystawnych przyjęć; zwyczajem więc miejscowym jest, że w takich wypadkach dwór, poczynając od jadła, i napojów, a kończąc na zastawie stołowej, dostarcza wszystkiego. Połączone to było w danym razie z trochą kłopotu, z powodu, iż dzień przyjęcia wypadł w piątek, a zatem nie można było użyć mięsa. Zabiegliwa jednak nasza gosposia zaradziła wszystkiemu; przywieziono z Warszawy kilka gatunków ryb i od rana w całym dworze wrzała robota i przygotowania. Kucharz tutejszy, który stał się mistrzem swego kunsztu w Paryżu i jest zarazem piekarzem i cukiernikiem, przeszedł samego siebie: olbrzymie szczupaki i jesiotry leżały w całości udekorowane, na niezwykłej wielkości półmiskach, wina wynoszono z piwnicy a cała służba dworska, obciążona koszami i przeróżnemi naczyniami krążyła nieustannie pomiędzy dworem a plebanią oddaloną od niego o jakie tysiąc kroków. Nareszcie trzynastu księży i wszyscy zaproszeni zasiedli do stołu w dwóch obszernych pokojach, by godnie uczcić dzień postu. Motto kazania było, że prawdziwy chrześcianin nie bywa posępnym lub podejrzliwym, lecz pogodnym i wesołym i na ten to temat poczciwi księża wypowiedzieli kilka pełnych humoru mówek przy stole. Trzeba im jednak przyznać, że więcej jedli niż mówili, a pili jeszcze lepiej. Butelki Bordeaux, Bourgogne i białego węgrzyna wypróżniały się tak szybko, iż zaszła kilkakrotna potrzeba posłania do dworskiej piwnicy po większy ich zapas. Pili, trzymając się tradycyi narodowej, jak dobrzy Polacy, ale nie wymknęło się im ani słówko niepotrzebne, młodzi księża trzymali się skromnie ze względu na obecność swych zwierzchników, ci zaś dbali o utrzymanie powagi. Bawił mię mój przyjaciel Henryk, prezydujący u końca stołu, przy tej duchownej uroczystości przyjmującej uprzejmie toasty, które wznoszono na jego cześć, jako gospodarza i amfitryona, protektora kościoła, dobrodzieja okolicznego duchowieństwa, stojącego na straży religii itd. itd. Czem to się stać nie można na tym świecie, gdy się ma rozum, jest hojnym i bogatym?... Prawdopodobnie wielu z zebranych tam księży nie dużo więcej miało wiary od niego, zdolniejsi z nich prawie wszyscy kończyli nauki w Rzymie. Wiara u pospólstwa jest jednak niezachwianą, rzeczy najbardziej sprzeczne ze zwykłą logiką, rozsądkiem są dlań tylko jednym więcej dowodem opieki opatrzności, oto wydatny tego przykład w bajce ludowej opowiedzianej w tak ślicznych słowach przez Henryka Sienkiewicza. Szedł sobie raz chłop ze świdrem i siekierą do lasu i spotkał starą babę, a że chłop był mądry, więc poznał zaraz śmierć i myślał sobie, jakby jej się pozbyć. Zaczął tedy wiercić dziurę w starej wierzbie i do niej zaglądał.

— Co chcesz tam zobaczyć? — pyta go śmierć.

— Kiedy chcesz wiedzieć, to sama sobie zajrzyj.

Śmierć zajrzała do dziury, lecz nic nie zobaczyła, a chłop ociosał tymczasem bukowy kołek.

— Nie widzę nic — powiada.

— Wleź całkiem, to zobaczysz.

Zaledwie śmierć wlazła do dziury, chłop zatknął ją kołkiem, przybił go siekierą i poszedł. Rok po roku szedł, chłop sobie żył i żył, a że wszędzie naokół ludziska przestali wymierać, więc namnożyło się tego jak mrowia.

---

do tego tak pilnuje? A jego ekonom, Jan Krążel z Palówki. No, nie mogłoby tak być, co?

Ale Merten odwrócił twarz i nic nie odpowiadał; więc Krążel zrozumiał, że chce być sam i wyszedł, mrucząc:

— Psiakrew, pański syn, na taką dolę...

— Tak, szczęście jest — myślał Merten, rzuciwszy się na wznak na kanapę — szczęście jest. I dla czego on go mieć nie może? Czy ma mniej do niego praw, niż inni? Dla czego ta wieczna, straszna ironia życia? Dla czego to przekleństwo przeznaczenia po nad nim? Dla czego na każdym kroku od tylu lat jedno i jedno zawsze tylko nieszczęście? Dla czego mu się nie wiedzie, mimo że ma większy może, niż inni talent? Dla czego los go postawił w warunkach, które mu po prostu ręce wiążą? Wiecznie, od pierwszej chwili prawie, w której zaczął się kształcić, niedostatek, brak, przygnębienie domowe, nie pozwalały mu ani żyć tak, jak innym, ani tak jak innym rozwijać się normalnie. Nigdzie nie był, niczego nie użył, nic nie widział. Nie miał dotąd jednego dnia, o którym mógłby był powiedzieć: miałem dobry dzień, ani jednego grosza, który mógłby był swobodnie wydać.

A ta ciągła walka o każdy kęs chleba, o każdą kroplę wody! Ciągłe stykanie się i ścieranie z ludźmi, których upodliła nędza, lub którzy od razu podli na świat przyszli. Wszędzie, na każdym kroku brutalność, zawiść, złość, fałsz, głupota i nikczemność ludzka; wszędzie, na każdym kroku musieć żyć w tym świecie tak obcym mu, tak wstrętnym, z którymby go nie jedno życie, ale wieki całe nie zdołały pogodzić, połączyć,.. Okropny los, okropny dla natury takiej, jak jego, bujnej, skrzydlatej, pełnej fantazyi i namiętnych pragnień, chciwej wrażeń i upojeń, rozkołysanej przez sny i wizye, ceniącej nadewszystko swoją dumę, swoją niezależność... Okropny los, okropne życie!...

Dawniej zdawało mu się czasem, że to nieprawda, że to sen tylko: zbudzi się, otrząśnie, albo dzieckiem w swojej rodzinnej, nigdy nieodżałowanej wsi słonecznej, albo człowiekiem w jakimś zupełnie innym świecie. Czasem zdawało mu się, że już struna do ostatnich granic wyprężona, że już się musi ten straszny sen skończyć, i zamykał oczy, aby je otworzyć za chwilę z uśmiechem, do innego promiennego życia...

Ale to nie był sen.

Więc długie lata wrzał w nim bunt, walczył, miotał się, szarpał, miał nadzieję zwycięztwa... Zawiodła.

Potem przyszła rezygnacya, obumarłość jakaś, apatya, nieme, ale śmiertelnie bolesne: niech się co chce dzieje. I jak dawniej, kiedy nowe nieszczęście na jego rodzinę lub na niego spadło, dziwił się, że jeszcze gorzej być może, niż dotąd było: tak teraz dziwił się tylko, że nie jest jeszcze tak źle, żeby już gorzej być nie mogło, żeby już po prostu po za tem złem była otchłań... Boć przecież dotąd jeszcze ani na pół sparaliżowany ojciec jego, ani matka znękana i zgnębiona nieludzko, nie byli ani chwili głodni, ani chwili bez dachu nad głową. Ale teraz taka chwila już chyba nadeszła.

Wszelkie środki były wyczerpane. On sam od tygodnia nic ciepłego w ustach nie miał, oni za parę dni nie będą mieli za co chleba nawet kupić. Już ostatnia musiała być potrzeba, kiedy matka sprzedała żydówce ten złoty krzyżyk; wiedział, że byłaby wolała pół życia dać, niż to utracić...

Wtedy, kiedy go kupił, zdawało się, że będzie dobrze w życiu...

Wziął list ojca w rękę: Każde słowo, każdy wyrzut falę krwi rzucał mu do piersi. Lękał się, że padnie rażony apopleksyą, bo te wyrzuty wszystkie były niesprawiedliwe naprawdę, choć się pozornie słusznemi wydać mogły. To nie był winien on, to było winne nieszczęście. A zresztą on nie miał już żadnej wiary, żadnej nadziei. Trzeba było skończyć i moment ostateczny już nadszedł. Miał do wyboru tylko dwie drogi: albo rodzice, albo on. Sam dla siebie zarobić potrafi, a jeżeli nie będzie prawie całych swych dochodów obracał na utrzymanie domu, w krótkim czasie może stanąć dobrze. Jedna porządna praca — a czuł się do niej na siłach — jest progiem do lepszej doli. To

Chłop się zestarzał, bieda poczęła go gnieść, pracować już nie mógł i naprzykrzyło mu się w końcu żyć; poszedł więc do wierzby i odetknął ją, by śmierć sobie znów na świat wyleciała. Jak też wyleciała, to tyle ludzi pozmiatała, że nie było ich gdzie chować. Przyszła wziąć jedną biedną wdowę, matkę siedmiorga dzieci, a dzieci ją proszą i błagają: „Nie zabieraj, nie zabieraj nam matki“. Zlitowała się śmierć nad dziećmi, idzie do Pana Boga i powiada: „Panie Boże, jakże mam tę matkę brać, kiedy dzieci tak o nią proszą i lamentują, aż mię litość bierze“. A pan Bóg powiada: „To nie moja rzecz, idź do Pana Jezusa, on ci powie jak ma być“. Przychodzi tedy śmierć do Pana Jezusa. „Panie Jezu, jakże mam brać tę wdowę, kiedy dzieci za nią proszą i tak lamentują, aż mnie litość wzięła“. A Jezus prask śmierć w pysk i powiada: „Leć na dno morza i przynieś mi ztamtąd mały okrągły kamyczek“. Skoczyła śmierć do morza, na samiusieńkie dno i przyniosła twardy, okrągły jak bochen chleba kamyczek. A Pan Jezus do niej: „A teraz gryź“. Gryzie śmierć, gryzie, aż ją zęby bolą, ale zgryzła i patrzy aż tu w środku siedzi maleńki robaczek. A Pan Jezus znów śmierć w pysk: „A widzisz, powiada, to ja i o tym malutkim robaczku na dnie morza wiem i pamiętam, a ty myślisz, że ja o sierotach zapomnę. Leć zaraz i bierz matkę!“ — Taka to niezachwiana wiara w rozum i sprawiedliwość wyroków opatrzności panuje u ludu w tym kraju, w warunkach, w których właściwie przyznać trzeba, iż niełatwo jest dojrzeć rękę opatrzności kierującą jego losami.

IV.

Cisza tu tak wielka, jaką tylko o wiele mil od ruchu miastowego i kolejowego znaleść można; w nocy przerywa ją jedynie trąbka stróża nocnego, odzywająca się co kwadrans dla oznajmienia, iż wszystko w porządku i nadzór nie ustaje, ale gdy usnę, nie słyszę jej wcale, bo śpi się w tej ciszy wyśmienicie. Z rana wchodzi Władysław przynosząc ubranie, otwiera okiennice i okna w moim pokoju. Jest to służący, który został przeznaczonym do moich usług, z pochodzenia Litwin, liczący lat około trzydziestu, zręczny, zwinny, silny i niezwykle inteligentny. Mówi bardzo dobrze po francuzku i po włosku, z powodu, iż z poprzednim swym panem spędził pięć lat we Florencyi, dwa zaś był w Paryżu z obecnym, wyraża się w obu tych językach poprawnie, lecz czasem oryginalnie i dość malowniczo. Mówi np.: „Il mouche fort aujourd' hui“, co ma oznaczać, iż dużo jest much. Zna język polski, jak swój rodowity, rozumie po litewsku i rosyjsku, w porównaniu z nim ja jestem chyba nieukiem. Zapewne, iż umiem po niemiecku, ale on za to goli znakomicie; znam trochę język angielski, lecz z jego zręcznością i siłą porównywać się nie mogę. Ma on mnóstwo fachów do wyboru, mógłby być w Paryżu tłomaczem, fryzyerem lub garsonem, wszystkiem zależnie od okoliczności. Gdyby mu odjąć tylko trochę polskiej dobroduszności, byłby to istny Figaro.

Widok prześlicznych trawników i rozłożystych drzew, gdy się z rana oczy otworzy, pieści duszę i odświeża zmysły. Czem bardziej się jest skazanym na życie w mieście, tem więcej odczuwa się zbliżenie z naturą. Gdy jadę wśród pól i z daleka po silnym, pełnym słodyczy zapachu poznaję, iż zbliżamy się do łanu kwitnącej koniczyny, wstrzymuję konie, by nie utracić ani odrobiny tej rozkosznej woni. Każde znalezione piórko przedstawia coś zajmującego, gdy się nie przywykło do chodzenia wciąż po polach, a spotykanym roślinom przygląda się z zainteresowaniem dziecka na wakacyach, zbierającego zielniki. Z rana chodzę sam, gdyż dla innych jest za gorąco, ku wieczorowi zaś wychodzimy wszyscy razem, kierując się codzień w inną stronę. Zawsze to samo widowisko — zachód słońca, zapadający zwolna mrok, ukazywanie się czerwonej tarczy księżyca na widnokręgu, stopniowa zmiana tej barwy na jaśniejąco żółtą — lecz równie zajmującą i nową. Nastrój też codzień ten sam, tylko rozmowy inne, zależnie od tego, jaką towarzyszkę ma się przy swoim boku. Wczoraj nie było najlżejszego wietrzyku, zmrok zapadł dość szybko, a księżyc w pełni, siejący czarodziejskie blaski dokoła, miał nieledwie hypnotyzujące własności; młoda panienka idąca obok mnie mówiła zwolna, jakby do siebie, wiersz, którego pierwsza strofa brzmiała tak: J'aime la nuit, La nuit des rêves, Aux heures brèves, Quand l'astre luit. Sur champs et greves, J'aime la nuit. Quand la nuit dort Dans le silence, La lune lance Sa clarté d'or, Qui se balance, Quand la nuit dort.

W dziwny sposób kojarzyły się i zlewały te słowa z nastrojem naszym w ciszy tej nocy letniej.

Tak upływają nam dnie jednostajnie, dnie, które się składają z rozmów i obcowania z naturą, o których się zapomina, czy się wtorkiem czy piątkiem nazywają — przechodzą tak tygodnie, w których wyodrębnia się tylko niedziela, z powodu, iż około południa donośny dźwięk dzwonów zwołuje wiernych do kościoła. Te dzwony! Codziennie ku wieczorowi około 9tej rozlega się kilka uderzeń dźwięcznych i nagle jakby trwożnie zamiera. Władzom zakomunikowane jest oficyalne tłomaczenie, co one znaczyć mają, lecz właściwie te dźwięki są poświęcone pamięci Polaków, poległych za wolność ojczyzny. Kilka tylko niezbyt głośnych uderzeń, jakby tajemnicze przypomnienie, ale najsilniejszy dzwon na trwogę nie rozległby się tak silnie i daleko, jak one, bo wszędzie je słychać tak w stolicy, jak w najmniejszym wiejskim kościołku.

Jak jedwabnik zasklepiamy się w tej jednostajności, ciszy, wśród rozkosznej, orzeźwiającej atmosfery, nie tęskniąc nawet do Warszawy, dokąd w obecnej porze tylko teatr pociąga. Marcellówna gra teraz, a ja nie widziałem jej dotąd na scenie. Gdy największa artystka dramatyczna polska Helena Modrzejewska opuściła kraj dla Ameryki i zaczęła grywać po angielsku, na polskiej scenie przed kilku laty wyróżniały się dwie kobiety: Marcello i Wisnowska. Dziś pozostała z nich tylko jedna, piękna brunetka, — niema już jej jasnej rywalki! Wszyscy pamiętają zapewne z gazet o rodzaju śmierci Wisnowskiej. Oficer rosyjskiej gwardyi, który ją oddawna prześladował swemi względami i dręczył zazdrością, przyszedł do niej jednego wieczora, żądając, by opuściła wszystkich i wszystko dla niego, w przeciwnym razie groził jej śmiercią. Gdy mu oświadczyła, że jest jej obojętnym i że życzy sobie zachować niezależność i swobodę, wyjął rewolwer z kieszeni i miał okrucieństwo trzymać nieszczęśliwą kobietę przez całą noc pod tą groźbą, podczas gdy sam pił i jadł spokojnie. Zrozumiała nareszcie, iż mu się nie wymknie i na wydartych z notesu karteczkach pisała rozpaczliwe skargi i wezwania o ratunek. Kartki te podarte i rozrzucone po podłodze znaleziono po jej śmierci. Nad ranem zabił ją nareszcie, wrócił do siebie i zawołał do kolegów: „Wiecie, że zabiłem Wisnowską?“ Nie wierzono mu z początku, sądząc, że mówi od rzeczy, lecz gdy fakt został sprawdzony, Barteniewa aresztowano. Śledztwo wykazało straszne zepsucie, rozmysł i okrucieństwo z jego strony, to też za pierwszym i drugim wyrokiem sądu, potwierdzonym przez senat, skazanym został nieodwołalnie na 20 lat ciężkich robót. Cesarz jednak uznał za właściwe w danym wypadku zastosowanie łaski monarszej i zmienił ciężkie roboty i więzienie na zdegradowanie w służbie. Barteniew więc został prostym żołnierzem, lecz w tydzień później awansował na podporucznika, w drugi na porucznika i w ten sposób stało się zadość sprawiedliwości jako też łasce monarszej. Biedna Wisnowska! Włosy jej były tak bujne i jasne, oczy takie niebieskie, a uśmiech miał tyle wdzięku i uroku. Widzę ją jeszcze, gdy siedząc obok Marcello w pierwszym rzędzie krzeseł w sali ratusza na odczycie moim o polskiej literaturze, biła brawo z całej siły, z zapałem, w drobne rączki,

---

jednak jest niemożliwe, a życie takie, jak dotąd, trwać dalej także nie może.

— Oni, albo ja — myślał Merten — jednę stronę trzeba wybrać. Życie moje nie przyda im się na nic, nie wybawi ich, nie ocali, ale ocalić ich może moja śmierć. Dopóki ja będę żył, świat obowiązek utrzymywania ich, żywienia, składa na mnie; gdy mnie nie będzie, poczuje się przecież sam do obowiązku względem nich. To już nie będą rodzice, tylko ludzie. Śmierć moja wywoła wrażenie, przypomni sobie o nich rodzina, która teraz spokojnie może się zasłaniać mną, „dorosłym i tak utalentowanym synem“. Do walki dalszej nie mam już po prostu sił, za wielem przeszedł; trzebaby cudu, abym żywy mógł fatalnemu położeniu kres położyć, ale moja śmierć musi coś zmienić. A zresztą... mnie już nie będzie. Ja także czuję, mnie także jest źle, już nie mogę więcej...

Będzie to straszny cios: jeżeli ich zabije, tem lepiej dla nich; jeżeli nie, śmierć z głodu gorszą jest, niż utrata syna.

— Czy tylko będę miał odwagę?... Muszę ją mieć, muszę, muszę! Muszę umrzeć!

A gdyby... a gdyby jeszcze spróbować, jeszcze walczyć, jeszcze żyć... może się przecież co odmieni... Ach! Ileż razy spodziewał się tej odmiany, był jej pewny... Nie, nie odmieni się nic, może być tylko jeszcze gorzej, jeżeli wogóle jeszcze gorzej być może... Jedyną drogą ocalenia rodziców od ostatecznej nędzy jest jego śmierć, jedyną drogą wyzwolenia jego samego od męczarni życia jest samobójstwo. Trzeba umrzeć.

Myśli tej uczepił się gorączkowo, namiętnie: nie chciał rozważać, zastanawiać się, zmęczony jego umysł oparł się na tej idei, jak ptak raniony na podciętej nad wodą gałązce. Wie, że gałąź się złamie i runie z nim razem do wody, ale on już dalej lecieć nie może, ale, byle nie lecieć, on jest gotów wpaść w wodę i utonąć.

Zdenerwowany do najwyższego stopnia organizm Mertena nie dopuszczał nawet do rozumowania. Boleść, jaką sprawi rodzicom, straszna, okrutna, niewysłowiona boleść, od której woleliby z pewnością tysiąc głodowych śmierci, obowiązek względem nich do ostatniej przez naturę przeznaczonej chwili: wszystko to prawie nie istniało dla niego. Nie zdawał sobie z niczego sprawy, nie mógł, nie chciał jej sobie zdawać.

Myśl samobójstwa przychodziła mu zresztą nieraz do głowy i nie była obcą. Skłonny do melancholii, mało mający odpornej energii życiowej a zmuszony do fenomenalnie ciężkiej walki z losem, myślał nieraz o gwałtownem i stanowczem położeniu kresu tej walce. Idea ta potężniała w nim coraz więcej, coraz mniej zdawała mu się straszną śmierć.

A jednak...

— Czy tylko będę miał odwagę? — powtarzał sobie.

Dla czego niema jej mieć? Tam — cokolwiek będzie, nie będzie gorzej, być nie może. A życia — ha, tego to chyba nie będzie mi żal...

Bóg?...

Jakieś głuche zamyślenie owładło umysł Mertena. Oparłszy czoło na rękach, siedział nieruchomy i prawie bezmyślny. To słowo: Bóg, ogłuszyło go, jak cios młota w czaszkę.

Merten nie wiedział sam, czy wierzy, czy nie wierzy. Nie modlił się nigdy, jednak nie mógł zasnąć, nie przeżegnawszy się poprzednio, zupełnie jak dziecko, położone w łóżeczko.

Nagle wstał, wyprostował się i rzekł prawie głośno:

— Cokolwiekbądź, zrobię to!

Podszedł do stolika, wyciągnął szufladę i wyjął z niej mały, inkrustowany rewolwer.

— Ostatnia scena, godna całej tragikomedyi, całego melodramatu. Syn, poświęcając życie dla ocalenia od głodowej śmierci rodziców, strzela sobie w łeb z rewolweru, który dostał na urodziny od ojca. Pyszna scena! Pyszny melodramat. Biłbym brawo, gdybym sam nie był aktorem...

Przyłożył lufę do czoła, i nagle cofnął rękę. Czuł, jak mu krew zbiegła do serca.

Nie! Nie!...

(Dokończenie nastąpi).

ubrane w jasno popielate rękawiczki. Mniej była ładną niż Marcello, ale równie pełną talentu artystką jak i ona. Żałowaną jest i dotąd niezapomnianą.

Nie potrzebujemy jechać do Warszawy, by się spotykać z ludźmi; o parę godzin drogi w okolicy mamy dużo sąsiadów z długiemi i trudnemi do wymówienia dla cudzoziemca nazwiskami. Są to wszystko ludzie inteligentni i po większej części bogaci; posiadają nietylko duże obszary ziemi, które oni i ich synowie umiejętnie wyzyskują, lecz w wielu majątkach są tu fabryki cukru i gorzelnie, a pola zasadzone cukrowemi burakami i kartoflami rozciągają się szeroko. Starsze pokolenie, wychowywane w kierunku demokratycznych i antyklerykalnych ideałów trzyma się ich stale; — charakterystyczną jest jego niechęć do księży wogóle, a w szczególności wstręt połączony z obawą do Jezuitów. Budzę tu niepospolite zdziwienie, mówiąc o nich według mego zwyczaju z zapałem i pewnym podziwem, albowiem większość tutejszych panów, to ludzie z jednej sztuki, którzy tego rodzaju odcieni nie rozumieją. Czytują dużo, — lecz głównie proste, niezbyt głębokie, popularne książki, skierowane przeciw religijnym i politycznym przesądom, zyskują ich uznanie. Żarliwi to patryoci, śledzący z zapałem na widnokręgu politycznym za zmianami, któreby mogły zwiastować lepsze czasy dla Polski.

Młode pokolenie jest bardziej praktyczne, czynne i mało zajmuje się polityką, pogodziło się ono prawie z życiem takiem, jakiem ono mu się przedstawia. W starszem bardziej zajmującymi są mężczyźni niż kobiety, w młodem rzecz się ma wręcz przeciwnie.

Pomijając skrajne pojęcia zachodu o emancypacyi, trzeba przyznać, że tutejsza kobieta nie zajmuje pośledniego stanowiska, dużo ma ona niezależności w swym sposobie myślenia, z pewnością nie mniej od mieszkanek północy, sam zaś poziom jej kultury jest wyższym, bo posiada więcej wiadomości, nie mówiąc już o wychowaniu światowem i towarzyskiem. Młode kobiety tutaj władają wielu europejskimi językami, nie tak jakby się ich uczyły, ale jakby to była ich rodzinna mowa, literatury obce znają na wylot, gdyż cały swój wolny czas spędzają przeważnie na czytaniu, prawie żaden kraj i jego warunki nie są im nieznane, z powodu, iż nieledwie trzecią część życia swego spędzają w ciągłych podróżach. Naturalnie, że spotyka się pomiędzy niemi różne rodzaje a zatem i rodzaj „gęsi“, dość nieznośny, bo pełen pretensyi i wymagań z powodu, iż wie, że ma ładny dziobek i zalicza się do wydatnego gęsiego rodu. Na szczęście spotkałem tylko jeden egzemplarz w tym rodzaju, natomiast widzę parę okazów szlachetnych sokołów, łabędzia, sfinksa... Mamy tu blizko młodą dziewczynę, która nie jest właściwie piękną, ale tak zgrabną i pełną wdzięku, że zdaje się nią być co chwila. Nie śmieje się nigdy, twarz jej nie nosi nawet banalnego uśmiechu zdawkowej grzeczności. Mówi tylko, gdy się znajdzie z kimś sam na sam, przy licznie zaś zebranem towarzystwie nie odzywa się wcale, a jakkolwiek liczy tylko 24 lata, tak dokładnie wie, co jest wart każdy człowiek i każde kółko w Warszawie, tak jest niezależną, oryginalną i pozbawioną przesądów w swym sposobie myślenia, że niejednokrotnie w zdumienie wprawia, bo zdanie jej mogłoby być zdaniem inteligentnego, rozwiniętego, wytrawnego mężczyzny. Czytała ona ze zrozumieniem wszystkie śmiałe książki, wydane w ciągu ostatnich lat dwudziestu. O dwie mile zaś ztąd w starym, poważnym dworze, który był siedzibą wielu pokoleń, a od którego rozchodzi się siedem cienistych alei, mieszka u swych rodziców, rozwiedziona z mężem, młoda, 30-letnia kobieta. Jest to typ tak niepospolity i interesujący, że rozwódka ta, wszędzie, w każdej stolicy zwróciłaby na siebie uwagę. Ciemnowłosa jak córka Italii, zbudowana jak Rzymianka, łączy w dziwnie zajmujący sposób wdzięki mieszkanek południa z niewypowiedzianym urokiem i czarem słowiańskiego szczepu. Twarz jej przykuwa do siebie, choćby dla tego, że się nigdy podobnej do tej nie spotkało twarzy, szczególnie usta są niepospolite, pełne wyrazu, jak usta wielkich dramatycznych artystek. Gdy się na nią patrzy, mimowoli ma się na myśli jaskrawą purpurę, lub krwistej barwy kwiat podzwrotnikowy, obdarzony odurzającym zapachem. Zachowanie się jej jest spokojne, pełne dystynkcyi, znać w niej dużo panowania nad sobą a głos ma niezwykle melodyjny. Inne kobiety wydają się przy niej niczem, lecz ona sama zdaje się nawet nie wiedzieć o tem, że jest tak wyjątkowo obdarzoną istotą. Ile w tutejszej Polsce jest słowiańskiego wdzięku i południowego ognia, jako też wrącego gdzieś w głębi, tajemniczego, a tak pociągającego życia, wszystko to odczuwa się w tej kobiecie, która w moich oczach jest uosobieniem jej ducha.

Bo też trzeba przyznać, że pomimo ucisku, jakiego nie doznają ani przyłączone do Niemiec prowincye, ani zostająca pod austryackiem berłem Galicya, tu tylko istotnie bije prawdziwe serce Polski, tu jedynie lud ten, wraz z jego charakterystycznemi cechami studyować należy. Stan majątkowy właścicieli ziemskich Polaków w Poznańskiem i wschodnich Prusach jest fatalnym; wielu pozbyło się już swych majątków. Niemcy poparci tysiącem środków i praw wyjątkowych, mając za sobą stumilionowy kapitał rządu i z całą namiętnością a wytrwale prowadzoną propagandę w tym kierunku, wykupują ziemię nieledwie cal po calu. Jakkolwiek zaś polski włościanin tamże z powodu przymusowej nauki jest więcej rozwiniętym, schludniejszym i nawet zamożniejszym niż gdzieindziej, to jednak mniej na nim cech polskich, bo wpływy, jakim ulega, są zbyt różnorodne. Klasa wyższa wychowuje się w niemieckich zakładach i uniwersytetach. Co zaś do Galicyi, ubogiego, górskiego kraju, to jest to tylko, że się tak wyrażę, n e g a t y w n a prowincya Austryi. Mieszkańcy jej używają zupełnej swobody pod względem obywatelskim i narodowościowym, śpiewają pieśni patryotyczne, mówią mowy przy każdej sposobności, ale partye gryzą się tam nieustannie z nieprzejednaną zajadłością. Kraków jest siedzibą klerykalnej i konserwatywnej większości, Lwów zaś wolnomyślnej mniejszości. Jakkolwiek prasa jest tam zupełnie wolną, mało ma wartości, gdyż treścią jej bywają po większej części osobiste napaści, jakie pociąga za sobą żywa walka partyjna. Z tego względu przypomina mi nasze duńskie stosunki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wystawa etnograficzna w Pradze.

Wystawa etnograficzna w Pradze została w dniu 21 z. m. zamkniętą. Ściągała ona liczne tłumy, przychodzące po największej części w celu manifestowania swych uczuć narodowych i miłego spędzania czasu w zbyt obficie najeżonych pawilonach i gospodach.

Na wystawie panował zazwyczaj ruch bardzo wielki. Zwiedzali ją też gęsto różni goście słowiańscy, zwłaszcza Bułgarzy, Polacy, a dalej Rusini i Rosyanie. I ten to ruch robił najsilniejsze wrażenie. Widziałeś lud, silny duchowo, spojony, dobijający się swych praw może nazbyt brutalnie, ale charakteru nie zmienić ludowego. Czy to leży w istocie czeskiej, czy odziedziczonem zostało po sąsiadach niemieckich, nie wiemy: najprędzej jednak jedno i drugie przyczyniło się do wyrobienia pewnej szorstkiej i surowej siły w tym dzielnym narodzie. Może ona jest praktyczną w walce z wrogiem, który do przeprowadzania swych ideałów używa środków, bynajmniej nie woniejących moralnością, z tem wszystkiem jest w tem coś odstręczającego dla wydelikaconych nerwów polskich.

Samej wystawie nikt piękności odmówić nie może lubo grzeszyła nieustosunkowaniem. Niektóre miejscowości były przedstawione najszczegółowiej, inne słabe tylko dawały pojęcie o rzeczywistości. Pochodzi to z tej przyczyny, iż pracował tu, kto chciał, a przeto nic dziwnego, że znalazły się takie strony, których przedstawiciele nie czuli wielkiego pociągu do tracenia czasu na urządzenie działów im przekazanych. Dalej, na wystawie pewne części były traktowane zbyt powierzchownie np. dział kobiet czeskich, dział czasopismowy i t. d., a z drugiej strony spotykaliśmy działy, chorujące na przeciążenie np. dział wyszywek i ubiorów ludowych. Na ogół jednak (mówimy wyłącznie o stronie etnograficznej) wystawa robiła wrażenie dodatnie. Zadaniem jej było przedstawić mniej więcej dzisiejsze życie l u d u, jego zwyczaje, obrządki, zarobkowanie, oświatę, dalej rozwój kulturalny n a r o d u czeskiego. Jeśli zwrócimy uwagę, że przed kilku laty Czesi mieli wystawę t. zw. jubileuszową, a teraźniejszą stworzyli niemal wyłącznie za własne pieniądze, tem łatwiej zapomnimy o jej usterkach, aby podziwiać nieprzepartą żądzę dążenia naprzód i wielką żywotność kilkomilionowego zaledwie narodu.

Prawdziwie za to wspaniale zamigotała wystawa przed oczyma swoich cudzoziemców, jako rzucenie rękawicy tym, którzy nad Czechami chcieli zaśpiewać „requiescat“. Usłyszeli oni z milion piersi wydzierający się głos „Ave Caesar morituri te salutant“, a głos ten brzmiał tak potężną ironią, że cezar musi powoli zwrócić baczniejszą uwagę na tych ludzi już uśmierconych, — znowu zmartwychwstałych. Aby jak najczęściej ukazywać się gromadnie, urządzali Czesi ciągłe pochody krawców, szewców, stróży, kucharek, występy całych miast, najrozmaitsze zabawy, święcili pamięć najzasłużeńszych mężów za pomocą przeróżnych uroczystości, wyprawili kilka wesel ludowych, by zaznajomić ludność miejską ze zwyczajami wiejskimi, w których do dziś przechowały się jeszcze obrządki bardzo dawne, sięgające nawet czasów pogańskich. Przygotowali dalej dla Prażan niespodziankę w postaci partyi żywych szachów, wyobrażającą bitwę stoczoną w r. 1469 pod Wilemowem między królem węgierskim Maciejem Korwinem i czeskim Jerzym z Podziebrad. Sprowadzili z Węgier Słowaków i górali tatrzańskich, by pokazać pełne dzikości tańce i pełne rozdzierającego smutku śpiewy. Zbudowali prawdziwie uroczą fontannę kilkupiętrową, bardzo bogatą w odmiany wodotryskowe. I za pomocą tych sztuczek różnorodnych dosięgli celu: zamanifestowali się przed światem i swą monarchią, jako naród żywy, silny, a zwłaszcza jednolity (Czesi, Morawianie i Słowacy), co może w rzeczywistości nieco mniej ponętnie wygląda. I to mniemamy jest największą korzyścią z tegorocznej wystawy czeskiej. Ilością bowiem zjazdów nie może się ona poszczycić, a i te, co były, (zaledwie parę) są niczem, bo do żadnych poważniejszych nie doprowadziły wyników. Przyjechano, aby się pobawić i rozejść niebawem.

Drugą korzyścią może być muzeum etnograficzne, o ile zostanie z okazów wystawowych utworzonem. Zamiar ten przyświecał od samego początku inicyatorom wystawy, a dziś w opinii znajduje gorące poparcie. Spodziewanem jest także zwiększenie popytu na czasopisma i wzmocnienie ruchu księgarskiego.

Z. M.

OBRAZKI LWOWSKIE.

(Rozwój Lwowa. — Fizyonomia wyborów. — Ruch robotniczy i „dom robotniczy“. — Otwarcie nowego roku w uniwersytecie lwowskim. — Publiczne posiedzenie w Ossolineum.)

I.

Kto lat kilka Lwowa nie widział, dla tego ożył on niejako, przeobraził zewnętrzną swoją postać, dostroił się prawie do tempa swoich elektrycznych tramwajów, odział w szatę wielkomiejską swe bulwary, gmachy publiczne, kawiarnie. Sterczy wprawdzie jeszcze dawny teatr, którego przybytkiem muz, sądząc z zewnętrznego wyglądu, mianować trudno, rzadko migają płomyki latarni na podrzędnych ulicach, po do-

mach brak wody, a po mieszkaniach nie dostaje przedpokojów. Te i tym podobne braki, które człowiekowi, nawykłemu do zachodnio-europejskich obyczajów, wydają się kardynalnemi grzechami przeciw nowoczesnym urządzeniom miejskim, pominąć przecież można, pocieszając się, że są już tylko chwilowe, zwłaszcza, gdy z filozoficzną obojętnością odwrócimy się od zewnętrznych stron życia, pragnąc odgadnąć jego umysłową i moralną istotę. A tygodnie ostatnie dostarczyły niektórych znamiennych rysów do zobrazowania lwowskich stosunków.

Przedewszystkiem mieliśmy wybory do sejmu. Jak wiadomo z artykułów krakowskiego korespondenta była to dla Lwowa fala, która rzucając w różne strony nawę wyborczą, przybiła ją wreszcie do tego samego brzegu, — jakiś taniec na miejscu, którego konkluzyą był wybór tych samych posłów, obarczonych ciężkiemi zarzutami przez zgromadzenia przedwyborcze. Zewnętrzne *decorum* walki przedwyborczej zachowano przecież znakomicie: był moment, w którym na zgromadzeniu dwaj profesorowie wyższych zakładów naukowych (uniwersytetu i politechniki) Jegerman i dr. Piętak rzucili się ku sobie jak groźni przeciwnicy, był znowu inny, kiedy przeciw i za wyborem ks. Adama Sapiehy agitowano tak silnie, że spieszący do ratusza wyborcy zmuszeni byli przechodzić jakąś tryumfalną bramą, której jedną stronę stanowił herold, ogłaszający zrzeczenie się kandydatury przez księcia, gdy po drugiej widniał plakat, polecający go najgoręcej uwadze wyborców. Przeciągały wozy meblowe okryte odezwami komitetów, nie zbudowane wprawdzie na ten cel, ale chwilowo wolne od przeprowadzki, która nie odbywa się w środku miesiąca. Te konwulsyjne wysiłki nie zdołały przecież rozgorączkować wyborców, którzy nietylko nie przerwali drzemki, by powierzyć mandaty więcej zaufanym mężom, ale nawet jak na wybory w wielkiem mieście w bardzo małej garstce znaleźli się przy urnie. (Nawet połowa uprawnionych nie stawiła się do urny.) Policya znała widocznie swoich ludzi i nie dokonywała takich jawnych gwałtów, jak w Krakowie na p. Danielaku, lub w Przemyślu na dr. Franko. Wobec słabych przejawów politycznego zainteresowania nic dziwnego, że uwaga ogółu zwłaszcza po za granicami Galicyi zwróciła się do walki wyborczej po wsiach, a jedynem pismem, które wśród lwowskich stosunków istotny udział w wyborach przyjęło, był organ ludowców, działających na tej wsi, „Kuryer lwowski“.

Jeżeli bowiem w prastarym grodzie arystokracyi i stańczykieryi, w Krakowie klasy wyższe wykazują swą żywotność, to w bardziej demokratycznym Lwowie ruch społeczny nie narusza spokoju warstw wyższych, ale płynie od podstaw piramidy społecznej, a więc od partyi ludowej i robotniczej.

Tej ostatniej, choć z powodu ustawy wyborczej nie przyjmuje ona właściwie udziału w najbardziej ożywionym okresie politycznego życia, poświęcić tu muszę słów kilka.

Partya robotnicza w Galicyi nie z powodu różnic programowych, gdyż jest on jednolitym dla całego kraju, ani nieporozumień osobistych, lecz z powodu geograficznego położenia ma dwa komitety centralne: lwowski i krakowski. Porozumiewają się one z sobą i z organizacyami rozsypanemi po całym kraju na dorocznych zjazdach, z których ostatni, czwarty z kolei zasiadał 28 i 29 września w Nowym Sączu. We Lwowie organizacya opiera się na stowarzyszeniach zawodowych i towarzystwie „Siła“. Obok tego istnieje kółko naukowe, którego celem jest szerzenie wiedzy i do którego wstępować mogą ludzie wszelkich obozów.

Bardzo doniosłym faktem dla lwowskich organizacyi robotniczych było założenie centralnego punktu, w którym grupować by się mogły i który otwarto obecnie w pasażu *Hausmann* pod nazwą „Domu robotniczego“. Otwarcie tego tymczasowego schronienia, (płyną bowiem składki na zbudowanie własnego „domu“, który śmielszym marzycielom przedstawia się jako pałac pracy) odbyło się uroczyście dnia 22 września. Na uroczystości przemawiali delegaci różnych stowarzyszeń, a największy entuzyazm wywołał ceglarz, który odezwał się imieniem najbiedniejszej i najwięcej upośledzonej kategoryi robotników, od niedawna tworzących stowarzyszenie. Nie brakło też i przedstawicieli Rusinów, ani robotników żydowskich. Nie wymowa i swada przemawiających, ale serdeczny nastrój zgromadzenia, które powoławszy zaproszonych imiennie odbyło się bez tradycyonalnego komisarza policyi, sympatycznie oddziaływały nawet na gości, stojących dalej od partyi. Nawet estetyczna strona programu, a więc muzyka, śpiewy, deklamacye istotnie były estetyczne. Przyznać muszę, że nasi niewątpliwie mniej ukształceni i zamożni robotnicy przewyższają pod tym względem niemieckich socyal-demokratów, u których estetyczna strona nawet w stolicach dużo pozostawia do życzenia.

Dom robotniczy zejmuje dwa piętra i łączy obecnie następujące stowarzyszenia: „Ogniwo“, towarzystwo robotników budowlanych, do którego należy 3000 członków, „Siła“, stowarzyszenie dla kształcenia robotników z 400 członkami, zawodowe „pracowników handlowych“, 300 członków, „Kółko naukowe“, 60 członków, oraz redakcyę partyjnego pisma „Nowy robotnik“. Wielka sala zgromadzeń ozdobioną jest w insygnia robotnicze, w popiersia poetów polskich oraz mistrzów naukowego socyalizmu Marksa i Lassalle'a. Nie zapomniano o bufecie, sali bilardowej, czytelni czasopism, zaopatrzonej w poważniejsze czasopisma polskie i niemieckie rozlicznych kierunków. (Między innemi znajduje się w czytelni „Przegląd Poznański“).

Tak więc robotnicy mają obecnie własny swój *dom*, który i inne stowarzyszenia przyciągać będzie. W najbliższym czasie zapisać się mają stowarzyszenia zawodowe krawców, ceglarzy i fryzyerów, wszystkie trzy dotąd bardzo nieliczne. Użyteczność „Domu“ okazała się już przy rozprawach nad ustawodawstwem przemysłowem w stosunku do robotników zajętych w drobnym przemyśle. Odbywały się one w głównej sali 6-go pazdziernika, a więc w tym samym dniu, w którym cała Austrya rozpoczęła energiczną akcyę za rozszerzeniem ustaw ochronnych i na przemysł drobny.

Nie wiem, czy instytucye naukowe, uniwersytet i Ossolineum wybaczą mi blizkie sąsiedztwo z ruchem robotniczym, dla którego podobno nie najlepiej są usposobione, odpowiem im przecież: *c' est la vie!* i przejdę do aktu tegorocznego otwarcia uniwersytetu lwowskiego w auli starego uniwersyteckiego gmachu.

Może niewiadomo czytelnikom „Przeglądu“, że tradycyonalnym obyczajem znajdują się przy tej uroczystości trzej biskupi: katolicki, ruski i ormiański w pontyfikalnych szatach, rektor w purpurze i gronostajach, profesorowie wszechnicy w togach z szafirowego i czarnego aksamitu, szereg pedelów z berłami, dygnitarze miejscy, studenci i garstka publiczności. Ta ostatnia, to głównie żony i córki profesorów, znajdują się zaś i troskliwe matki, które chodziły na — uroczyste akty do gimnazyów, gdy synowie uczęszczali do klas, a teraz wydają się z naiwną chęcią dowiedzenia się, co to jest owa wszechnica, do której syn uczęszczać począł.

Obecny rektor profesor Balzer, znany już, choć młody jeszcze historyk, zagaił zgromadzenie przeglądem dawnych i dziś istniejących wszechnic polskich. Stwierdziwszy smutny, a jedyny w dziejach dziewiętnastego stulecia fakt zmniejszenia się liczby uniwersytetów w krajach polskich przez zamknięcie wileńskiej akademii i zruszczenie uniwersytetu warszawskiego, zwrócił się do młodzieży z upomnieniem, aby tem gorliwiej popierała uniwersytety galicyjskie. Skoro przemoc tak bardzo zacieśniła źródła polskiej nauki, podwójny mamy obowiązek strzedz jej i nad nią pracować tam, gdzie jeszcze ręka wroga swobodę pozostawiła. Obowiązek to tem ważniejszy, że cały szereg słynnych nazwisk dodawał blasku uniwersytetom polskim, a imię Kopernika dowodzi, że naród polski, choć nie przoduje dziś na polu nauki, zdolnym jest do stwarzania wszechświatowych geniuszów. O żyjącem pokoleniu profesorów i uczonych prof. Balzer taktownie zamilczał, gdyż sąd o nich należy do historyi.

Ciekawem było przemówienie prof. Głąbińskiego, ekonomisty, nietyle ze względu na temat o współczesnych kierunkach w nauce ekonomii i pochodzeniu ich, — mówił on bowiem rzeczy znane, — ale ze względu na nacisk, jaki położył na naukowe znaczenie szkoły komunistycznej. Nie podziela on jej poglądów, uważa je przecież za wiele żywotniejsze i bardziej doniosłe od teoryi szkoły wolnego handlu i przyznaje, że mają przyszłość przed sobą. Nie miliony przeto popierające w praktyce socyalistyczno-komunistyczne teorye, ale naukowa ich doniosłość zaznaczoną została na galicyjskiej wszechnicy.

Publiczne posiedzenie w zakładzie narodowym im. Ossolińskich, który, jak wiadomo, posiada zbiory przeważnie polskich pamiątek i bardzo bogatą bibliotekę, rzuca nowe światło na naukową działalność Lwowa. Zagaił je prof. Matecki, zastępca kuratora. Biblioteka posiada około 100,000 dzieł i 3690 rękopisów, a w roku ubiegłym zasiloną została nowemi dziełami w ilości 2500. Jakkolwiek biblioteka uniwersytecka jest bardzo zasobną, to przecież i w Ossolineum, dostępnem dla wszystkich, pracowało przeciętnie po 15 osób dziennie. Istnieje tu również czytelnia przeznaczona dla młodzieży i szerszej publiczności, w której było 12,222 czytujących. Posiedzenie ubarwił dr. Bronisław Gubrynowicz zajmującym referatem o mularzach na dworze Jana III.

Szczegóły podane w dzisiejszym obrazku, to cząstka działalności Lwowian - mężczyzn, w następnym pomówię o kobietach, bo niewieścia sfera, choć nie może zaznaczyć się w życiu publicznem, jest tu przecież bardzo czynną.

Z. S. D.

Z estrady i sceny.

(Łotrzyca. Sztuka w 5 aktach K. Zalewskiego.)

„Łotrzyca“ Zalewskiego i „Demon miłości“ Mottego — dziwne podobieństwo. Tu i tam ta sama bohaterka, tu i tam ta sama ofiara, tu i tam pokrewne rezonerstwo, tu i tam te same kontrasty przerafinowanej rozpustnicy i syreny z jednej, prostego, serdecznego, czystego jak łza dziewczęcia z drugiej strony. Tylko ramy obrazu szersze i różnorodność typów obfitsza w utworze Zalewskiego, tylko rozwiązanie dramatu tragiczniejsze w utworze Mottego.

Nie chciałbym jednak, aby ktokolwiek w podobiźnie dwóch na poznańskim i warszawskim gruncie wyrosłych utworów upatrywał stosunek dłużnika do wierzyciela lub ojca do syna; — być może, że „Demon miłości“ zrodził myśl utworzenia „Łotrzycy“, ale pokrewieństwo typów wyłoniło się prawdopodobnie z tożsamości sfery i z właściwej istoty demonizmu kobiecego, pokrewieństwo kontrastów zaś uważam za naturalne i powszechne dążenie wydobycia najwyższej siły i plastyki na mocy psychologicznych świateł i cieni. Demonizm wycisnął na literaturze nowoczesnej wyraziste piętno, a ród „Dalili“ i „Heddy Gabler“ tak się rozplenił w świecie kulis, jak swojego czasu ród Werterów, Gustawów, Lar i Korsarzy w poezyi romantycznej. Te piękne, czarem zmysłowych rozkoszy otoczone bachantki, te pieszczczące się męką kochanków hetery, te tajemniczym urokiem nerwów rozhulanych pociągające histeryczki, te rafinowane komedyantki, grające na sercach męzkich jak mistrz na klawiszach fortepianu, te hypnotyzujące czarodziejki, — one wszystkie mniej lub więcej podobne do siebie, — błyskotliwe okazy głodnej bezustannych wzruszeń nerwowości schyłkowej i moralnego nihilizmu. I jest w tych typach jeszcze rys jeden, — najwybitniejszy w Strindbergowskich bohaterkach, lecz powtarzający się u wielu autorów nowoczesnych, — jest walka o królestwo płci, jest jakaś zemsta demoniczna umałoletnionej samicy, jest namiętna żądza, by królować nad królami świata i deptać,

w prochu rozcierać, druzgotać Cezaryzm męzki. Ta walka, rozgrywająca się dziś na arenie politycznej pod hasłem emancypacyi lub feminizmu wre tutaj w dziedzinie stosunków płciowych z nierównie większą potęgą, staje się odwetem za wiekową niewolę, za przeszkody stawiane w namiętnej pogoni równouprawnienia i za znienawidzoną wyższość zwycięzkiego intellektu mężczyzny. Jest ona charakterystyczną cechą demonizmu literackiego i rozszerza — mianowicie w dramatach autora „Ojca“ i „Wierzycieli“ — kocią drapieżność kobiecej kokieteryi i zatratę zmysłu moralnego do tragicznego ogromu walki ideowej, starcia dwóch światów, wyciągających ręce po berło i koronę.

Któż jednak w tej walce kobiety z mężczyzną pada ofiarą u stóp demonów? Nie „mąż“ — uosobienie typu męzkiego, lecz ów połowiczny „*homme-femme*“, ów „*vir feminini generis*“, wyhodowany w cieplarniach schyłkowej atmosfery. Może on być potęgą umysłową, może być harfą, grającą „pieśń nad pieśniami“, może myśl mieć wyostrzoną, głęboką jak morze, subtelną jak kamea, ale brak mu będzie woli i energii, — brak kości temu „*homme sans os*“. A może właśnie dla tego, że jest artystą lub myślicielem, nie będzie „mężem żelaznym“. Natura wysilona w jednym kierunku, odbijać się lubi w drugim, — wydelikacone czucie artystyczne pociąga za sobą utratę woli i siły, — wybujałość fantazyi, lotność i głębia myśli, wrażliwość duszy tuk z kości męzkiej wysysa. Nie mówię, że tak jest zawsze — Vasari inne świadectwo wystawia dla Lionarda da Vinci i Michała Anioła, — ale widzę, że tak jest często, — dziś więcej niż kiedykolwiek. Ofiary demonów to prawie bez wyjątku artyści i myśliciele. Löwborg u stóp Heddy Gabler to filozof i socyolog, — Żarski u stóp Wyszogrodzkiej („Demon miłości“) to poeta, — kochanek Dalili to malarz — bohater „Wierzycieli“ to rzeźbiarz — Marzeński, ofiara „Łotrzycy“ to znowu artysta i literat. Równe tam fizyognomie duchowe, — wszyscy oni genialni, wszyscy bez woli, bez energii, nerwowi i słabi. Tylko demony oraz ich ofiary w północnej literaturze posiadają obok właściwości typowych zawsze jakiś wyodrębniający rys indywidualny (Hedda Gabler — Löwborg), literatura zaś francuska i polscy jej naśladowcy nie indywidualizują ściślej swoich Łotrzyc i Marzeńskich, a tem samem ich bohaterowie, wyglądają jak noże z jednego tuzina. Nie znaczy to, żeby nadsekwańskie i nadwiślańskie Dalile i zdeptani ich kochankowie pozbawieni byli zupełnie plastyki i życia, lecz powoduje pewną banalność, pewną pospolitość kreacyi.

To też w „Łotrzycy“ Kaźmierza Zalewskiego nie ma ani jednego typu, któryby robił wrażenie manekinu, lecz nie ma również ani jednego nieomal, któregobyśmy już gdzieś i kiedyś nie widzieli. A nadto wypukłość tych wszystkich postaci roztapia się tu poniekąd w iście zabijającem rezonerstwie, bo w długim szeregu utworów zdolnego komedyopisarza nie znajduje się żaden zalewający nas taką powodzią oratorskich popisów. Nawet „Jak myślicie“ — ta nużąca, rozdeklamowana teza, — takich ciężarów krasomówczego rozumowania nie dźwiga. Jest to wręcz coś rozpaczliwego, gdy ci panowie Bronisze i Marzeńscy informują nas o swoich poglądach na sztukę lub opowiadają milowe alegorye o czterech dudkach ze zgaszonemi cygarami, a ogarnia nas tem większe zdziwienie, gdy pomyślimy, że autorem „Łotrzycy“ jest Kaźmierz Zalewski, uczeń i wielbiciel Francuzów, — tych mistrzów techniki scenicznej. Gdyby tak w obręcz żelazną ująć najnowszą premierę poznańską i akt pierwszy z drugim, akt czwarty z piątym połączyć, to zaliczyłbym może tak sprasowaną *trzyaktową* „Łotrzycę“ do lepszych utworów literatury dramatycznej, bo posiada ona sceny wspaniałe, posiada mianowicie akt III pierwszorzędnej siły, — ale w formie obecnej pozostanie utwór Zalewskiego pustynią monotonną o kilku palmach gdzieniegdzie rzadko rozsianych.

Przypominam sobie, że przed kilku laty byłem na sztuce jednego z starszych pisarzy niemieckich. Utwór przyjęto przez wzgląd na dawne zasługi i rozgłos autora z pewnem uznaniem, ale wiał chłód lodowy z lóż i krzeseł i w dźwięku oklasków znać było przymus i rozczarowanie. Odczuł to posiwiały w pracy literackiej autor i gdy po zapadnięciu kurtyny dłoń przyjaciół ściskał, uprzedził takiem słowem konwencyonalny komplement, wiszący na ustach naszych: „Nie mówcie wy nic. Widzę, że się starzeję i trzeba będzie rzucić się wyłącznie na powieść“.

To zdanie wysyłam dzisiaj pod adresem Kaźmierza Zalewskiego, bo lubo nie zawiera ono może prawdy bezwzględnej, to przecież historya literatury stwierdza na licznych przykładach jego słuszność. Zdaje się, że tylko pełnia sił, niewystudzone czucie i krew raźno pulsująca w żyłach jest w stanie wydać dramatyczne życie. Göthe jedynie w młodzieńczych utworach scenicznych zdradza nerw potężniejszy, Ibsen w ostatnich utworach utracił wiele z pierwotnej siły i dramatycznej energii. Pierwszy ubrał się w tunikę grecką i w oliwnych gajach pieścił się koturnową deklamacyą Hellenów, drugi rozpływać się zaczął w coraz to mglistszym mistycyzmie i utopił dramatyczność w tych wydłużonych do nieskończoności znakach zapytania i tajemniczych niedomówieniach. Podobne cechy omdlenia wykazują również najświeższe utwory Zalewskiego. Jakaż to świeżość bije z „Górą nasi“ lub z „Friebego“, jakiż zanik sprężystości i ruchu zdradza „Łotrzyca“! W utworach Zalewskiego pojawia się z roku na rok coraz więcej żywiołów powieściowych, lecz romans i dramat to dwie odmienne dziedziny, dwa światy o różnych warunkach bytu. Świetny ustęp powieściowy, przeniesiony żywcem na scenę, wywierać może wrażenie senliwego gadulstwa, i odwrotnie: niejedna piękna scena komedyi, oprawiona w ramy powieściowe, zdawać się będzie czemś niewykończonem i połowicznem. To też element narracyjny, grasujący coraz namolniej w sztukach Zalewskiego, obniża wartość kompozycyi i siłę utworu. On zatamował koła najświeższej sztuki głośnego komedyopisarza, on mimo, bądź co bądź, interesującej i poprawnie narysowanej postaci „Łotrzycy“, mimo całej galeryi typów różnolitych i żywych, mimo kilku scen mistrzowskich, subtelnie wycieniowanych, o drgającym nerwie dramatycznym, zgłuszył puls utworu i w sen go upowił.

A sen to był u nas głębszy niż gdziekolwiek, bo dla „Łotrzycy“ nie ma artystów w Poznaniu. W grze panny *Vernon* w tytułowej roli było tylko odczucie typu, ale nie było ani warunków, niezbędnych dla plastycznego oddania, ani siły, ani wykończenia. Jest to młoda artystka, użyteczna już dziś niewątpliwie w zakresie łatwiejszych kreacyi, ale niezdolna odtworzyć postaci, wymagającej nietylko finezyi, lecz silnych dramatycznych akcentów i pierwszorzędnej rutyny. Panna Vernon ma w postaci swojej i w ruchach wężową giętkość, wywierającą w rolach kuszących łotrzyc nader korzystne wrażenie, — ale głos nieczysty i temperament dramatyczny, uśpiony jeszcze, obniżają wartość jej artystycznych interpretecyi. Gdzie jedynie swobody i nieco finezyi rola wymaga, tam młoda artystka spodziewać się może już dzisiaj uznania, ale gdzie potęgą dramatu przemówić ma scena, gdzie ogromu sił potrzeba dla opanowania i dokładnego przeprowadzenia roli, tam panna Vernon dziś jeszcze na tryumf liczyć nie może. I dla tego w akcie drugim „Łotrzycy“ miała ona szczęśliwe momenty, — akt trzeci natomiast zdradzał niemoc zupełną, a dwa ostatnie zmęczenie, zacierające wyrazistość rysunku. Artystka, która w jednoaktowej „Barkaroli“ tak świetne odniosła zwycięztwo, okazała się bezsilną w pięcioaktowej, dźwięczącej bogactwem tonów i lśniącej jaskrawemi barwami kontrastów „Łotrzycy“.

Z innych wykonawców sobotniej premiery zasługuje na uznanie pan *Berski* w roli Miszki, lubo akcenty niemieckie w polszczyźnie tego kolonisty raziły sztucznością i brakiem konsekwencyi; Schmetenkatz p. *Knapczyńskiego* miał chwile porywającego humoru, ale ten bankier warszawski trącił zanadto — hałatem. Gra p. *Grabowieckiego* natomiast w roli Marzeńskiego była bladą od pierwszej do ostatniej sceny i z niepokojem szukałem owej szczerości, która biła z gry tego samego artysty w „Intratnej posadzie“. Zdawało się istotnie, jakby tam zamarł każdy dźwięk silniejszy lub uwiązł w gardle na połowie drogi. Co do pana *Skirmunta*, to żadnemu z rezonerów jego nie brak artyzmu, a więc i rola Bronisza była artystyczną kreacyą, ale gdyby ten zdolny artysta zechciał mniej wierzyć rutynie swojej, więcej ukochał sztukę i więcej pracy w nią wkładał, to uznanie nasze byłoby niezawodnie głębsze i serdeczniejsze.

Z innych wykonawców ról męzkich odnieśli niewątpliwy „*succès d'estime*“ panowie *Łaski i Jakubowski*, — pan *Nowacki* natomiast stworzył zamiast arystokratycznego lowelasa coś w rodzaju operetkowego łobuza, a p. *Szatkowski* zagrał scenę przy fortepianie tak, że przypominał nie artystę muzyka, lecz ogródkowego karykaturzystę, pokazującego „Koncert amerykański“. Z typów kobiecych, grupujących się około „Łotrzycy“, tylko jedna „Władka“ odznacza się wybitniejszą indywidualnością i nastręcza temat do gry popisowej. Rolę tę powierzono pannie *Ogińskiej*, a młoda artystka wywiązała się bez zarzutu z trudnego zadania. Jej „Władka“, ten duch służebny pięknej syreny, ta „perła pokojówek“, była istotnie wiernem tłomaczeniem intencyi autora, — miała rafineryę i spryt, — i miała w sposobie suwania po scenie jakieś kocie ruchy. Jak chodzić? Jak indywidualizować chodzenie? Może artystki nasze zastanowią się nad tą kwestyą i poświęcą jej nieco pracy i studyów.

Władysław Rabski.

NA WYŁOMIE.

(Garść wspomnień i nadziei. — Naiwność czy komedya?)

W chwili, gdy feljeton ten znajdzie się w rękach czytelników naszych, teatr poznański święci srebrny jubileusz istnienia swojego. Początki jego znam tylko z tradycyi, ale i te lat kilkanaście, na które własnemi patrzyłem oczyma, mienią się jak barwy kalejdoskopowe i tysiącem dziwnych mówią do mnie głosów.

Mrok zwolna kładzie się na książki i papiery, deszcz jesienny dzwoni po szybach, wsuwam się głębiej w mój fotel, przymrużam oczy i roję.

Byłem dzieckiem wonczas i na kwartanerskich tronowałem ławach, gdy zdobywszy od jakiegoś wuja czy ciotki kilka złotówek, po raz pierwszy wstąpiłem w progi „gimnazyalnego parteru“. Wchodzę i zrazu nic innego nie widzę krom tłumów wyrosłych młodzieńców, zatopionych w cichej kontemplacyi lub rozprawiających żywo z wyrazistą mimiką ócz i twarzy. Nieśmiało staję w kąciku i staram się oczami przebić ten mur czarny, zbudowany potężnemi plecami panów prymanerów. Próżne wysiłki, — na płacz mi się zbiera zaczyna. Snać jednak odgadł jeden z wąsatych kolegów pragnienie moje i rozpacz, bo usłyszałem nagle głos tubalny: „Puśćcie tam tego malca do frontu“. I rozstąpiła się ciżba jak fale morza czerwonego za dotknieciem laski Mojżeszowej, a malec, popchnięty kilku szturchańcami, znalazł się wkrótce u baryery.

— „A widzisz?

— „Widzę.

— „A dziwujesz się?

— „Dziwuję“.

Nareszcie dzwonek uderza, muzyka zabrzmiała i wkrótce tajemnicza kurtyna z wizerunkiem poznańskiego ratusza w górę się unosi. Grano „Halkę“ w ten wieczór. Mój Boże! jak to już dawno, gdy „Halka“ z sceny poznańskiej uciekła... Co się wtedy działo w duszy czternastoletniego chłopca, tego opisać się nie pokuszę. Wiem tylko, że do takich uniesień, do takiego bezkrytycznego zachwytu jedno serce dziecięce jest zdolne, — wiem, że była to chwila wielkiego szczęścia, no! i wiem także, że przez tydzień cały kochałem się na

zabój w tej „Halce“ — ówczesnej pannie Schürer a dzisiejszej pani Skirmuntowej. Chyba mi tego wyznania nie poczyta za złe ta primadonna z przed szesnastu laty, a obecna reprezentantka charakterystycznego komizmu. Postarzeliśmy się oboje — ja piórem na chleb zarabiam, ona wspomnieniami żyje, — i mamy prawo mówić o pięknej „Halce“ i skromnym kwartanerze z parteru gimnazyalnego jak o cudzych ludziach. Zresztą niejedno serce młodych i starych żywszem wonczas uderzało tętnem, gdy panna Schürer królowała w operze poznańskiej. Była to ulubienica publiczności, porywająca głosem swoim i grą artystyczną, a tryumfy jej zaliczyć można śmiało do piękniejszych momentów jubileuszowego okresu. Przesuwały się potem jeszcze różne Halki na poznańskiej scenie, ale żadna — ani Skalska, ani Smetana — nie dorównała primadonnie naszej.

Niestety, laurowe wieńce panny Schürer zwiędły i opera poznańska jest tylko wspomnieniem. Z roku na rok blask swój traciły barwy teatralne i monotonna szarość rozpościerała się nad przybytkiem sztuki narodowej. Dziś zostały nam tylko dramat i komedya, a i one gasły powoli i w dół się staczały. Jakaż to wspaniała galerya artystów po wawrzyny sięgała na scenie naszej! Wszystko to rozproszyło się gdzieś po świecie szerokim, niektórzy zmarnieli, inni laur zdobyli w obcych teatrach, a nam jako zabytki lepszej przeszłości pozostali tylko panowie Skirmunt i Królikowski. Ta sama gwardya dziś jeszcze króluje i w ostatnich latach chyba jeden Trapszo i Sosnowski przy nich stanęli jak równi przy równych.

O! miała piękne chwile scena poznańska, miała sezony, ćmiące blaskiem swoim nawet wielkie miasta, miała artystów potężnych, dyrektorów zręcznych i reżyserów, miłujących sztukę gorąco i znających jej wszystkie tajniki. Tak! to było wczoraj, a dziś sztuka tu inna i inna publiczność... Były czasy piękne, gdy przed teatrem szeregi karet czekały na gości, gdy pierwsze loże lśniły blaskiem tualet i brylantów drogich, gdy kwiatami zasypywano scenę i za kulisy słano ulubieńcom klejnoty. Dziś piesze tłumy opuszczają bramy teatralne, rżenia rumaków i trzasków z bicza nie słychać, dziś bukiet zaledwie w dzień wielkiego święta ktoś rzuci artystom, dziś loże i krzesła świecą rozpaczliwemi pustkami a tylko na górnych piętrach coraz pełniej i gwarniej z dnia na dzień. Ta fizyonomia teatru to fizyonomia społeczeństwa, ten przewrót w przybytku sztuki to odbicie przewrotu w stosunkach naszych. W dwudziestu i pięciu latach z patrycyuszów ziemskich zaledwie cząstki pozostały, — jedni poszli na marne, inni w pocie czoła po miastach i miasteczkach na chleb powszedni pracują, a reszta, broniąc sił ostatkiem tej polskiej ziemi, na którą czycha Moloch kolonizacyi, nie ma już złota na loże, karety i kwiaty.

Szkoda tych czasów, bo sztuka tylko w bogatych społeczeństwach kwitnie, — Rzym ukochał ją dopiero wtenczas, gdy światem zawładnął, — nie miała jej Sparta, miały ją Ateny. Więc nie dziw, że wraz z patrycyuszami chyli się ku upadkowi i poznański teatr, — tam ruiny i tu ruiny, — lecz tam nadziei już niema a tu na gruzach błyska światło przyszłości. Żyjemy obecnie w przełomowej chwili, gdy jedna warstwa ginie a druga w szranki wstępuje, gdy jedna już upadła a druga jeszcze nie urosła, jeszcze nie zmężniała i serc nie rozpaliła temi płomieniami, które bądź co bądź gorzały wśród zdetronizowanych „ojców narodu“. Ta chwila zatem jest najniekorzystniejszą dla rozwoju sceny narodowej, ale z rojnych galeryi i lóż drugiego piętra coraz silniej odzywa się wróżba, że choć stare filary w proch się potoczyły, to lud nowe kolumny zbuduje. Demokratycznem jest już dzisiaj typowe oblicze teatru naszego i demokratyzacya ta z roku na rok silniej się rozwija. Im szersze tłumy przenika oświata i świadomość narodowa, im bujniej rozkwita dobrobyt ludu, tem ponętniejszym staje się dla niego czar sztuki ojczystej, a im szczelniej lud teatr zapełnia, tem żywszym strumieniem płynie w masy szerokie myśl i czucie polskie. Jest to wzajemne oddziaływanie, służące ojczyźnie i sztuce. Dziś jeszcze mieszczaństwo ani w narodowym, ani w materyalnym kierunku nie wzniosło się na owe szczyty rozwoju, gdzie królowała kierująca warstwa przeszłości, i dla tego chwilowo zastąpić nie może w całej pełni dawnych filarów sceny poznańskiej, ale nie daleka może ta chwila, gdy ci nowi ludzie i te nowe siły wystąpią z równą świadomością, równą potęgą dążeń artystycznych, równym kapitałem i równą ofiarnością jak ci, co giną pod presyą stosunków i własnych ułomności; wtedy teatr nasz święcić będzie nową erę rozkwitu.

W to wierzę silnie i dla tego mimo ruin i starczej anemii, wyzierającej ku nam w jubileuszowej godzinie z bram teatralnych, nie przyłączam się do chóru pesymistów, wróżących smutnie, że po srebrnym jubileuszu złotego nikt z nas witać już nie będzie. Precz z tą niewiarą! Teatr nie padnie, jeżeli tylko przetrwamy te ciężkie chwile przełomu, a choćby zasnął, to mieszczaństwo znowu do życia go zbudzi. Tą wiarą silni wstąpmy dziś w progi świątyni narodowej, nie z chmurnym „Morituri“ lecz z promiennem „Alleluja“ na ustach.

* * *

Przepraszam z góry czytelników moich, że dzisiejszy feljeton zakończyć muszę zgrzytem polemicznym, ale mając tylko raz na tydzień prawo głosu, nie mogę odkładać rachunków z przeciwnikami naszymi do jutra. List zacnego kapłana, ogłoszony przez nas w ostatnim numerze „Przeglądu“ wywołał w Kuryerowej armii popłoch i zamieszanie; chcąc jednak zamaskować ambaras i osłabić wrażenie publikacyi naszej, oświadczono tam kategorycznie, że list taki ubliżałby każdemu kapłanowi i jest f a l s y f i k a t e m. Tak! według pojęć „Kuryera“ narodowe stanowisko ubliża duchowieństwu katolickiemu, — ta stara piosnka już nas dziwić przestała. Charakterystyczniejszym jednak jest czelny zarzut falsyfikatu, opierający się rzekomo na tem, że autor listu ogłoszonego w „Przeglądzie“ mianował księdza Stagraczyńskiego „nieboszczykiem“, lubo ksiądz ten żyje na probostwie w Łeknie, o czem każdy kapłan wie niezawodnie. Jakież to marne, słabe i dziecinne, przezacni panowie z „Kuryera“, — wy, którzy udajecie, że figuryczności znaczenia wyrazów: „św. pamięci ks. Stagraczyński“ — mózg wasz nie pojmuje. Posłuchajcie zatem, co w tej sprawie odpowiada wam ten sam kapłan szlachetny, którego list stał się dla was gromem:

Szanowna Redakcyo!

Jak przypuszczałem nie obyło się bez walki, ale zaczepka „Kuryera“ jest tym razem tak naiwną, że niezawodnie od niej głowa was nie zaboli. Dodając litery „ś. p.“ do nazwiska Stagraczyński mówiłem oczywiście obrazowo, chcąc uwydatnić, że kapłan ten j a k o p o l i t y k i d z i e n n i k a r z — tak głośny w niedawnych jeszcze czasach — już nie istnieje. Pisałem tylko o działaczu politycznym, o redaktorze Stagraczyńskim, a ten już spać się położył.

Tych słów kilka wyjaśnienia racz Szan. Redaktorze zamieścić w łamach pisma swojego i przyjm wyrazy prawdziwego szacunku.

Ks. X.

Cóż na to „Kuryer Poznański“ z swoją udaną naiwnością? Cóż na to redaktorzy jego, — ci „św. pamięci“ patryoci i wolnodumcy?

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Prof. Maryan Jaroczyński. Warszawski „Przegląd tygodniowy“ poświęca prof. Jaroczyńskiemu następującą sympatyczną notatkę:

„Z okazyi zamknięcia w Poznaniu szkoły politechnicznej wieczornej, przypomniało się ogółowi nazwisko twórcy tej szkoły, człowieka, który zasługuje na to, ażeby imię jego stało się głośniejsze i wyszło po za obręb prowincyi. Jeżeli gdzie sztuka miała i ma po dziś dzień grunt bardzo niepodatny pod każdym względem to właśnie w Poznańskiem. Żadna sława na polu sztuki niewybiegła z tych stron, a chociaż kilku ludzi z wyższym polotem starało się rozbudzić zamiłowanie, dobre chęci trafiały na niechęć, albo nawet na złą wolę ogółu. Dla tego też szczególniejszą godzi się nazwać zasługę profesora Maryana Jaroczyńskiego. Twórca wielu obrazów, bądź historycznych, bądź religijnych, sam jeden przez długi szereg lat starał się nieść z godnością sztandar naszej sztuki. Nie nazwiemy go orłem w malarstwie, płótna jego nie posiadają wybitnych cech, ale to jedno, że profesor Jaroczyński, przykuty do taczki obowiązków, jako nauczyciel szkoły realnej, znalazł i czas i chęć, nietylko do pracy nad sobą, ale do kształcenia młodych adeptów, należy mu zapisać jako wielką zasługę. Z jego to ręki wyszedł pomiędzy innymi znany rzeźbiarz Marcinkowski, jemu zawdzięczał przedwcześnie zgasły Sokołowski swoje początki, on wreszcie wpłynął na podniesienie poziomu u wielu rzemieślników poznańskich. Jako człowiek wysoce sympatyczny, typowo piękna twarz i postawa, profesor Jaroczyński liczy wielu przyjaciół, którzy też z pewnością życzą mu, ażeby teraz, po zwinięciu szkoły, mógł oddać się zupełnie tej sztuce, którą tak kocha i szanuje“.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** Po zdobyciu stolicy Howasow Antanariwo przez wojska francuzkie przystąpiła królowa Madagaskaru do rokowań pokojowych. — Położenie na Korei stało się wielce niepokojącem wskutek intryg rosyjskich i chińskich przeciw Japończykom. — We wtorek ubiegły odbyła się uroczystość złożenia serca Ko ciuszki w kaplicy zamkowej w Rapperswylu. Redakcya nasza wysłała na obchód ten telegram następujący: „Oby serce Kościuszki stało się sercem narodu“. — Zjazd socyalnych demokratów postanowił w imiennem głosowsniu 158 głosami przeciw 63 odrzucenie projektu programu agrarnego, przedłożonego przez komisyę agrarną, stosownie do wniosku Kautsky'ego. Przez tę uchwałę poniósł porażkę oficyalny zarząd stronnictwa, i to większą, aniżeli na jakimkolwiek z przeszłych zjazdów stronnictwa, na których zawsze jeszcze udawało się posłowi Singerowi, Beblowi i innym wymową i taktyką powstrzymać zapał i nieumiarkowanie żywiołów radykalniejszych.

* **Teatr i muzyka.** W czwartek wznowiono na poznańskiej scenie komedyę Feuilleta p. t. „Miłość ubogiego młodzieńca“. W sztuce tej wystąpił znowu po długiej chorobie p. K r ó l i k o w s k i w roli starego generała, a występ ten stał się prawdziwym tryumfem dla artysty. Grę jego świetnie wycieniowaną i wstrząsającą wielką siłą dramatyczną przyjmowano burzą oklasków. Z innych wykonawców zasługują na wyszczególnienie panie Paszkowska, Majdrowiczowa, Skóraczewska i Vernon oraz panowie Knapczyński, Wostrowski i Wojdałowicz. — Na benefis pani Majdrowiczowej odegraną zostanie w najbliższy czwartek na scenie naszej „Fernanda“. — Nowości niemieckiego repertuaru: Waltera „Panna-doktór“, — Bottchera farsa „Nad Renem“. — Reicheneggera „Zjadacz żelaza“. — Nowy dramat Karola Bleibtreua p. t. „Prawdziwy“ nie znalazł w Sztuttgarcie powodzenia. — Mascagni pracuje nad operą, do której libretto przerobione zostało z „Nany“ Emila Zoli. — Czasopismo paryzkie p. t. „Moniteur de Consulats“ zamieściło entuzyastyczny artykuł, poświęcony pianistce naszej panie Z o f i i L u b i c z-D z i e r z b i c k i e j wraz z portretem znakomitej artystki. Artykuł ten ocenia koncert panny Dzierzbickiej na sali Harcourta w Paryżu jako niezwykłe zjawisko w świecie muzycznym i w następujących kończy się słowach:

„Panna Dzierzbicka wywarła nietylko wrażenie zdumiewającem mistrzostwem swojem i siłą na wskroś męzką, lecz również blaskiem słowiańskiej piękności. Można o niej powiedzieć to, co Balzac mówi o Polkach:

„Ange par l'Amour.
„Démon par la fantaisie.
„Enfant par la foi.
„Femme par le coeur
„Homme par le cerveau.
„Poète par le rève.
„Telle est la Polonaise“.

Zmarli:

Dr. August Tebaldi, jeden z najznakomitszych psychiatrów włoskich, prof. uniwersytetu w Padwie, zm. w swej wili nad jeziorem Garda.

Wiktor Rydberg, profesor uniwersytetu w Sztokholmie, wybitny uczony szwedzki, zm. w końcu zeszłego miesiąca.

Odpowiedzi Redakcyi.

Elektra. Nadesłane poezye są wcale niezłe, ale ponieważ w tece mamy znacznie lepsze, więc na razie przynajmniej gościnności udzielić im nie możemy.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 43. Poznań, Niedziela 27. października 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Ul. św. Marcina 22, II.
Administracya: Piekary 6, parter 1.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 5 Mr. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedynczy numer: w Poznaniu 40 fen. pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Od dnia dzisiajszego znajduje się Administracya i Ekspedycya „Przeglądu Poznańskiego“ na Piekarach Nr. 6, parter I.

Obyczajność na wsi.

Do pewnych twierdzeń nawykamy tak, że w końcu przyjmujemy je zupełnie bezkrytycznie, a jeżeli twierdzenia te dotyczą objawów życia społecznego, w których każdy uznaje siebie za kompetentnego sędziego, to ustaje nawet usiłowanie dowiedzenia się prawdy. Przypomnijmy sobie n. p. twierdzenie o „dawnych dobrych czasach“, o „złotym dniu“ rzemiosła i t. d. Do takich też utartych poglądów należy ten, że wieś jest „moralniejszą“ od miasta. Czy rzeczywiście kiedykolwiek bukoliczne rojenia o sielskiej prostocie miały jaką podstawę, nie tu miejsce rozstrzygać. Chcemy natomiast pomówić o dwóch ankietach, urządzonych w celu zbadania stanu moralnego ludności wiejskiej przez niemieckie „Sittlichkeitsvereine“. Pierwsza ankieta, urządzona w r. 1894, dotyczyła całego państwa niemieckiego; rezultaty jej ogłosił pastor C. Wagner.*) Druga, więcej przedstawiająca dla nas interesu, dotyczy Księstwa i Szląska.**) Nie podzielając wielu poglądów obu autorów zacytowanych prac, sądzimy jednakże, że rezultaty, do jakich doszli, nie obojętne są dla ogółu; pomimo więc, że temat jest drażliwym, podajemy tu niektóre wnioski ogólne. Pruderya, spuszczająca wstydliwie oczy, nie na miejscu jest wobec doniosłych faktów życia społecznego.

Ci, którzy dziś jeszcze podzielają pogląd o „zepsuciu“ miasta i „czystości obyczajów wiejskich“, zapominają przedewszystkiem, że i wieś została wciągniętą w wir przekształceń społecznych, eo ipso więc musiały zmienić się i stosunki życia domowego, a z niemi musiały się zmienić obyczaje. Patryarchalny n. p. stosunek ojca do dzieci zmienia się z chwilą, kiedy dzieci te zaczynają pracować i zarabiać w młodym już wieku; stosunki pomiędzy miastem i wsią dziś są jak najściślejsze, ogromna ilość młodzieży wiejskiej pracuje w fabrykach, bądź czysto wiejskiego przemysłu, jak cukrownie i gorzelnie, bądź w fabrykach innych, zakładanych na wsi, lub też coraz częstsze stosunki zawiązuje z miastem. Naturalnie, że wobec tego niwelują się poglądy i sposób życia. Nic więc dziwnego, że jednemu ze sprawozdawców wyrywają się wyrazy: „Die Unsittlichkeit des Landes fluthet in die Stadt und der Schmutz der Stadt vergiftet wieder die Luft des Landes“.

Jedną z klęsk życia wiejskiej ludności jest ciasnota mieszkań. Oto co mówi poważny znawca życia wiejskiego Wittenberg, cytowany u Wagnera.

Opowiada on, że zdarzało mu się widzieć pomieszkania, składające się z izby i alkierza, w których spali rodzice, pięcioro lub sześcioro dzieci, po części dorosłych i jeszcze parobek lub dziewka. Tem, zdaniem autora, tłomaczą się liczne wypadki kazirodztwa, obserwowane śród ludności wiejskiej. Jeden ze sprawozdawców opisuje takie stosunki: Czteroletnie dzieci, a nawet starsze, sypiają w jednem łóżku z rodzicami, w tejże komorze śpi dziewka, w sieni parobek. Sypialnie położone obok siebie tak, że dziewczęta przechodzą przez sypialnie parobków, nie są rzadkością i t. d. i t. d. O Księstwie specyalnie pisze p. Wittenberg: „I tu również rozlegają się najczęściej skargi na ciasnotę mieszkań, przytem u znacznej części ludności należy jeszcze uwzględnić skutki niechlujstwa i biedy; 8 osób częstokroć ma tylko trzy a nawet dwa łóżka do rozporządzenia“.

Drugim tematem do skarg jest przedwczesny rozwój płciowy, spowodowany brakiem wszelkiego dozoru nad dziećmi i oddaleniem szkoły, do której chłopcy i dziewczęta udawać się muszą razem. Dodajmy, że skutkiem tego wczesnego rozwoju w bardzo licznych wypadkach jest lubieżność, prowadząca do nienaturalnych wykroczeń, a otrzymamy obraz niestety aż nadto ciemny.

Prostytucya w właściwem znaczeniu tego wyrazu nie istnieje, jednakże Wagner taką wypowiada opinię: „Szczególne niebezpieczeństwo dla dziewcząt wynika z ich zależności od pracodawców, ekonomów i innych przełożonych“. Jus primae noctis w pewnych odmiennych formach wytworzyły tu odmienne warunki. Wszyscy też sprawozdawcy mówią o demoralizującym wpływie służby wojskowej. Wprost oburzającym, niepodobnym prawie do wiary jest fakt podany przez Wagnera: Pewien pułkownik, udzielając żołnierzom urlopu na dzień Sedanu, nie wahał się przed frontem swojego oddziału powiedzieć: „Użyjcie wolnego czasu, aby się dobrze zabawić; kiedy byłem tak młody jak wy, wtedy ja... (słowa te zbyt są sprosne, aby je tu powtarzać) lecz nie chodźcie do publicznych kobiet, te was rujnują; trzymajcie się raczej służących!“ I wobec tego bywają ludzie, rozprawiający o dobroczynnym wpływie armii na młodych ludzi!

Śród właściwych chłopów, włościan-posiedzicieli, jak wykazała ankieta, rozwija się francuski system Malthusa: nie mają oni więcej jak dwoje dzieci. Jest to bezpośrednim skutkiem drobnej własności chłopskiej; chodzi o utrzymanie gospodarstwa w rodzinie i unikanie cząstkowych podziałów. System francuski zdaje się być rozpowszechnionym głównie na zachodzie monarchii, jednakże początki ukazują się już nawet na Szląsku. W każdym razie dalecy jesteśmy od czasów, kiedy w rodzinie chłopskiej dzieci uważano za błogosławieństwo.

Oto są obrazy, jakie nam maluje ankieta pastorów ewangielickich (większa część bowiem członków „Sittlichkeitsvereine“ i prawie wszyscy sprawozdawcy ankiety do tego należą stanu). Wobec tego powinnyby ustać owe poglądy idyliczne na wieś. Środki zaradcze, o jakich wspominają niektórzy ze sprawozdawców, zdają się nam bezskutecznemi a niekiedy wprost chybiającemi celu, n. p. domaganie się, aby przestrzegano wszędzie przy ceremonii ślubnej różnicy pomiędzy panną a „upadłą“, pozwalając tylko pierwszej nosić wianek. A to tembardziej, że niektórzy ze sprawozdawców z godną uznania otwartością przyznają, iż nie zawsze obyczajność jest w stosunku prostym do liczby osób, uczęszczających do kościoła. I na tem polu objawów życia ludzkiego następuje przekształcenie bardzo i bardzo powoli. Rozwój prawdziwej obyczajności musi iść w parze z rozwojem prawdziwej kultury, i chcemy wierzyć, że i tu ludzkość w końcu wkroczy na jasne tory. Kto jednakże spodziewa się zbawienia po starych ideałach, zawiedzie się. Jeżeli ankieta pastorów nie będzie miała innych skutków, to przecież przekonać powinna umiejących patrzeć, że powrót do „starych dobrych czasów“ jest niemożliwym, kiedy upada nawet owa warownia konserwatyzmu: wieś.

Zb. Am.

*) Die Sittlichkeit auf dem Lande. Vortrag gehalten auf der VI. allgemeinen Konferenz der deutschen Sittlichkeitsvereine in Kollmar am 20. September 1894 von Pastor C. Wagner.

**) Die geschlechtlich-sitttlichen Verhaltnisse der evangelischen Landbewohner in den Provinzen Posen und Schlesien. Dargestellt auf Grund der von der allgemeinen Konferenz der deutschen Sittlichkeitsvereine veranstalteten Umfrage von Pastor II. Wittenberg. Leipzig, 1895.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Z powodu agitacyi składkowej w celu zbudowania w Poznaniu „Domu Katolickiego“ wypowiada „Orędownik“ następujące trafne uwagi w nr. 243:

„Ks. lic. Glabisz z Murzynna na Kujawach rozpisał się o „Domie Katolickim“ obszernie w „Kuryerze Pozn.“

Ma on być podług niego — „Centrum unitatis catholicae“ — ogniskiem jedności katolickiej — obydwóch rchidyecezyi, mają się w nim odbywać zebrania wszystkich Towarzystw katolickich, zbiorowe zebrania z obydwóch archidyecezyi; mają radzić wszystkie warstwy naszego społeczeństwa nad naszemi najważniejszemi potrzebami; ma się zawiązać w nim kasyno katolickie, wielka czytelnia, księgarnia katolicka, wielki skład dewocyonalii, — mają się porozumiewać prezesowie stowarzyszeń katolickich, delegaci, patronowie, ma być biuro informacyjne, — jeżeli się fundusz zbierze, ma być hospicium — przytulisko dla słabowitych i osieroconych.

Przy tym rysunku rozmiarów zadań Domu katolickiego ks. lic. Glabisz starannie unika słów, jak „polski“, „narodowy“, — zna tylko u nas katolickie społeczeństwo, katolickie potrzeby, o polskiem społeczeństwie, o polskich potrzebach milczy jak kamień. Oczywiście milczące łączy w katolickich także polskie potrzeby; jest on zanadto dobry Polak, żeby potrzeby katolickie miał w społeczeństwie naszem inaczej pojmować.

Ale ks. lic. Glabisz nie może gwarantować za to, że nie zamkniętoby drzwi do sal Domu katolickiego tym Towarzystwom polskim i równocześnie katolickim, gdyby z nacisku potrzeby polskie narodowe akcentowały. Że takby się działo, to rzecz pewna, jak Amen w kościele i to „wiekopomne dzieło“, za co ks. lic. Glabisz Dom katolicki w przyszłości uważa, stałoby się dziełem „wiekopomnego rozbicia“, do którego zresztą już bardzo mało potrzeba w naszem społeczeństwie.

Do progów tego Domu nie miałby nikt przystępu z tych hardych, twardych i zapalonych dusz, które przy obecnych stosunkach wierzą, że głównie narodowością polską trzeba się zająć, bo Kościół już sobie sam da radę, nie tak, to inak. A choćby też progi otworzono i nawet proszono, to wielu z takich obywateli nie poszłoby tam, gdzie narodowość polska miałaby tylko być ratowaną łaską i opieką katolicyzmu. Doczekalibyśmy się prędko stosunków jak na G. Szląsku i chwilowo w Westfalii.

Do jakiego wyuzdania dochodzi galicyjska prasa ludowa, kierowana ręką stronnictwa stańczykowskiego, o tem świadczy artykuł „Krakusa“ (z 28 września) wymierzony przeciw ks. Stojałowskiemu. Dla informacyi czytelników naszych dodajemy, że „Krakusa“ wydaje „Spółka wydawnicza polska“, na której czele stoi Stanisław hr. Tarnowski, — redaktorskiem narzędziem zaś jest pan Matusiak, ck. profesor seminaryum nauczycielskiego żeńskiego w Krakowie. W tym to organie hr. Stanisława Tarnowskiego, przeznaczonym do szerzenia zasad katolickich wśród ludu, czytamy:

„Przeklęty Stojałowski... zdrajca Stojałowski — nic innego nie pozostaje, tylko pójść do Cieszyna, wywlec draba z więzienia i wbić żywcem na pal — i to nawet za łagodna śmierć za tyle zbrodni. Zdrajców ojczyzny wiesza się na gałęzi jak psów, a ten nietylko jest zdrajcą ojczyzny, ale i zdrajcą wiary, tem potworniejszym, że jako kapłan winien jej być obrońcą. Godzien on istotnie pala — ale my go nań wbijać nie będziemy — i tego od nas Bóg nie żąda“.

Takie rzeczy drukuje organ konserwatywno-klerykalny, wywieszający sztandar oświaty ludowej i etyki katolickiej.

„Gazeta Opolska“ donosi:

„Konserwatyści w okręgu pszczyńsko-rybnickim odstąpili podobno od zamiaru postawienia osobnego kandydata do parlamentu, lecz postanowili razem z niemieckimi katolikami głosować na pana Huenego, aby Polaków pobić, tem bardziej, ponieważ pan baron Huene jest i dla nich odpowiednim kandydatem. Będziemy więc mieli znowu w Pszczyńsko-Rybnickiem piękny obrazek: Centrum w pięknem towarzystwie rządowców pójdzie w zapasy z ludem polskim“.

Do notatki powyższej dodaje „Dziennik Kujawski“:

„Nowy to dowód, jak nieprzychylnie przywódzcy szląskiego centrum usposobieni są względem Polaków. Dwadzieścia pięć lat walczyło centrum w tym okręgu z partyą konserwatywno-rządową, teraz, gdy chodzi o lud polski, łączy się przeciwko niemu z wrogami To samo stało się w powiecie Raciborskim przed dwoma laty. Tam atoli centrum źle na tem wyszło, nie dopuściło do zwycięztwa Polaków, ale i samo przepadło, straciwszy dwóch posłów“.

O walkach górnoszląskich takie wypowiada zdanie „Orędownik“ w nr. 240:

„Zatarg na Górnym Szląsku, jakeśmy już raz zauważyli, toczy się tylko na zewnątrz o osoby kandydatów, w gruncie rzeczy o władzę i prawo do władzy: kto w sprawach wyborczych, politycznych będzie rządził ludem górnoszląskim — księża czy lud sam?

Około tej materyi toczy się cały zatarg od lat kilku i z natury rzeczy musi się z czasem skończyć na tem, że albo lud górnoszląski wyzwoli się z pod wpływów księży, pracujących pośrednio czy bezpośrednio dla germanizacyi i narodowość polska zostanie na Górnym Szląsku uratowana; — albo też lud górnoszląski będzie się musiał poddać owym księżom i wtedy ulegnie im i narodowość polska będzie zatraconą na Górnym Szląsku, oczywiście nie od razu, tylko podług znanej recepty „łagodnej“ germanizacyi

Przy zatargu tym nie chodzi o jakieś tylko odmienne zdania i zapatrywania, nie o chwilowe tylko różnice, które z czasem dałyby się wyrównać, ale o dwa stanowiska, o dwa obozy wręcz sobie przeciwne, przy których nie może być żadnego porozumienia, żadnej zgody, i które z natury rzeczy póty się zwalczać będą nawzajem, póki jedno z nich z pola walki nie ustąpi. „Katolik“ trafnie scharakteryzował obecną sytuacyę na Górnym Szląsku, gdy powiedział, że po jednej stronie jest ogień. po drugiej woda i wszelkie prawdopodobieństwo zgody jest wykluczone, wprost niemożliwe.

Ci księża na Górnym Szląsku, którzy temu ruchowi ludowemu wychodzą na przełaj, sami tę sytuacyę stworzyli i doprowadzili do tego, że dziś — zgoda z księżmi w sprawach politycznych stałaby się grobem dla narodowości polskiej na Górnym Szląsku, — a zrzucenie z siebie opieki księży polityku̦jących — zbawieniem dla tejże narodowości“.

„Czas“ krakowski zamieścił z powodu otwarcia polskiego gimnazyum w Cieszynie gorący artykuł powitalny, z którego cytujemy ustęp następujący:

„Szląsk pozostał i pozostanie polskim pomimo nierozsądnych deklamacyi garstki Niemców, osiadłych w tej prowincyi, a Polacy szląscy mają przyrodzone i konstytucyjne prawa do należytego zaspakajania wszystkich swoich kulturnych potrzeb — mają zwłaszcza niewątpliwe prawo do kształcenia swej młodzieży we wszystkich szczeblach nauki szkolnej w języku rodzinnym..

...Witamy zatem nową szkołę jako nowy rozsadnik polskiej myśli, polskiej kultury i polskiego języka, jako kresową warownię polskości, tem silniejszą i trwalszą, że rękami całego społeczeństwa wzniesioną; jako potężną zaporę przeciwko wszelkim zamachom na polską narodowość na kresach; wreszcie jako widoczny znak narodowej siły i łączności. Nie jest ten zakład wynikiem sztucznej agitacyi, lecz rezultatem elementarnej niezwalczonej potrzeby. Życzymy nowemu zakładowi, aby się jak najpomyślniej i najspieszniej rozwijał i uzupełniał, aby spełniał wszystkie nadzieje, przywiązywane do jego założenia, a polską młodzież na Szląsku w narodowych i religijnych tradycyach i zasadach wychowywał·

W naszem smutnem narodowem życiu, przepełnionem goryczą klęsk, prześladowań, zawodów i złudzeń, założenie cieszyńskiego gimnazyum jest rysem dodatnim, szczęśliwym a nawet podniosłym“.

Patryotyczne to odezwanie się „Czasu“ wywiera tem milsze wrażenie z tego głównie powodu, że właśnie w kołach czytelników jego spoglądano długo z zimną obojętnością na emancypacyjne wysiłki Szląska austryackiego.

LITERATURA I SZTUKA.

Opinie literackie.

Wśród ubiegłej kadencyi parlamentarnej, podczas rozpraw nad antyprzewrotową ustawą, gdy posłowie opozycyjni utrzymywali, iż byłaby ona zabójczą dla literatury, gdyż nawet dzieła

---

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.*)

Pan Antoni Żywokost na Gandziarach Gandziarowski doszedł już pięćdziesięciu lat wieku. Zdrowie mu służyło, zaledwie kiedy niekiedy uciekał się do pomocy Morisona, a i to więcej dla zasady niż z rzeczywistej potrzeby; żonę miał dobrą kobiecinę, o czerwonych rączkach, lecz złotem sercu; dzieciaków Pan Bóg dał czworo, a najstarszy jest już za pan brat z Cyceronem, a Homera znał lepiej niż historyę własnego kraju, co zgodne jest z wymaganiami galicyjskiej Rady szkolnej; fortuna jakoś dopisała, bo oprócz gruntu nad Rudawą, dwie kamienice, jedna na Szewskiej, a druga na Floryańskiej, stoją sobie mocno, a choć brudne i odrapane, bo pan Antoni tradycyę szanuje, przynoszą 7 proc. czystego dochodu i to wewnętrzne zadowolenie, że się coś znaczy na świecie, bo dają one prawo głosu przy wszelkich wyborach, zacząwszy od powołania uzdolnionych do Komitetu dozoru kościelnego, aż do wyboru członków Rady Państwa. A taki głos to nie bagatela: jednym głosem pana Antoniego może przeważyć się szala za tym lub owym kandydatem, jeden zaś głos wybranego decydować może w sprawach monarchii, której znowu przedstawiciel w wieczorku muzycznym, czy tam koncercie państw europejskich, wywołać zdolny harmonię lub dysonans tak wielki, że wieki go odczują a narody opłakiwać będą.

Złośliwi, a jest ich w Krakowie, oprócz miejscowych dziennikarzy i korespondentów do pism lwowskich, poznańskich i warszawskich, liczba wcale niemała, zastanawiali się, zkąd pan Antoni doszedł do płacenia 1312 złr. i 24 ct. podatku wraz z dodatkami, kiedy, jak mówił nieboszczyk Wszystkowiedzki, ojcem Żywokosta na Gandziarach Gandziarowskiego był ubogi szewc w Starym czy Nowym Sączu, który zapewne przez uszanowanie dla pradziadów skrócił swoje nazwisko i zwał się po prostu Gandziarą. Wprawdzie pan Filip, serdeczny przyjaciel p. Antoniego, zaręczał, że w r. 1858 otrzymał pan Antoni spadek po zmarłej ciotce, właścicielce dóbr ziemskich, są jednak tacy, co utrzymują, iż ciotka p. Antoniego miała sklepik w Sukiennicach i choć siostrzeńcowi swemu dopomagała, pomoc ta jednak ograniczała się na kromce chleba, dzbanuszku mleka lub kawy, oraz na przykrojeniu od czasu do czasu jednej z części ubrania, pozostałej po jej niebożczyku mężu. Też same złe języki utrzymują dalej, że w r. 1859 zmarł w Krakowie ś. p. Karol Duhaczek, wielki przyjaciel młodzieży, który nie mając bliższych krewnych, majątek swój, wynoszący koło 50,000 złr. miał zapisać na stypendya dla uczniów Uniwersytetu. Tymczasem ku ogólnemu zdziwieniu testament się nie znalazł i daleki krewny zmarłego został prawnym skadkobiercą. Ponieważ zaś pan Antoni, wówczas prawnik na drugim roku, mieszkając obok ś. p. Duhaczka, był nieodstępnym jego towarzyszem podczas choroby i porządkował mu nawet papiery, przeto nic dziwnego, że spadkobierca wzruszony jego bezinteresowną przyjaźnią dla zmarłego, dawał mu bardzo wybitne dowody życzliwości, a nawet pono wynagrodził jego dobre serce monetą kurs w kraju mającą. Nagroda ta, wynosząca około 10,000 złr. pozwoliła panu Antoniemu porzucić studya uniwersyteckie i pożegnać się raz na zawsze z wszelką książką i nauką, do których wstręt od dzieciństwa uczuwał, a oddać się wyłącznie filantropii. Znając smutne położenia młodzieży, uznał się za egzekutora owego zaginionego testamentu ś. p. Duhaczka. Zaczął więc pomagać swoim byłym kolegom pożyczkami na dłuższy lub krótszy termin, ponieważ zaś miał wstręt do upominania się, pilnowania terminów, przypominania przyjętych zobowiązań mniej rzetelnym dłużnikom i t. p. używał więc podobno pośrednictwa p. Mojżesza Salzstangla, który zajmował się wyszukiwaniem potrzebujących, wystawianiem weksli, przyjmo-

*) Drobiazg ten osnuty został na tle wyborów do Krakowskiej rady miejskiej w r. 1887·

najsławniejszych poetów nie ostałyby się wobec cenzury policyjnej, ze strony rządowej zarzucano im przesadę, przecząc stanowczo, aby obostrzone prawo prasowe stosować miano do arcydzieł klasycznych.

Nie można wątpić o słuszności tych zapewnień, — utwory, które chlubę piśmiennictwa stanowią, któremi szczyci się naród wobec Europy, niewątpliwie budzą zbyt wielką cześć u ogółu, aby jakikolwiek wykonawca nowego prawa poważył się z zarzutami przeciw nim wystąpić — jednakże niezmiernie trafną odpowiedź dano ze strony opozycyi: Schiller nie był klasykiem, gdy tworzył „Zbójców“ ani Goethe, gdy pisał „Cierpienia Wertera“. Choć nowe prawo nie zaszkodzi uznanym powagom dawnym, to będzie mogło złamać niejeden wielki talent współczesny: jeżeli nie narazi Niemców na stratę arcydzieł, które już posiadają, to przeszkodzi im wzbogacić się w nowe arcydzieła. Jest istotnie rzeczą dziwną i zajmującą zarazem zestawienie sądów ludzi o rzeczach dawnych i współczesnych, gdyż ogólnie zupełnie innej używa się miary do ocenienia tego, co było, a tego, co jest obecnie lub w danej chwili się zaczyna. Większość ludzi — a o tem nigdy zapomnieć nie należy — jest zupełnie pozbawioną samodzielnego zapatrywania. Zdania, które codziennie słyszymy z ust tysiąca, nie są istotnie zdaniami tych tysięcy ludzi, którzy je wygłaszają, lecz zapatrywaniem pewnej grupy jednostek, które ogółowi myśli swe poddać lub narzucić umiały. To też n. p. o utworach literackich, które już do historyi literatury zaregestrowane zostały, zdumiewająca panuje między ludźmi jednomyślność. Ludzie różnych temperamentów, przekonań, poglądów i kierunku uznania swe dla Goethego, Schillera, Szekspira, Mickiewicza prawie jednobrzmiącemi wygłaszają zdaniami i chyba tylko specyaliści krytycy usiłują jeszcze jakąś nową stronę odkryć w dawnych dziełach. Nikt nie kwestyonuje praw autora do wygłaszania tych lub owych poglądów, malowania scen mniej lub więcej jaskrawych. Dla czego? Oto dla tego, że autor jest wielkością uznaną, że go każdy podręcznik literatury ze czcią wspomina i czytanie dzieł jego poleca. Podręczniki literatury są dla większości ludzi jedynem kryteryum piękna w piśmiennictwie, — to co głoszono w klasie a w wypracowaniach szkolnych powtarzano bezmyślnie, stanowi dla wielu całkowity zapas literackich poglądów. Po za widnokrąg gimnazyum lub pensyi umysły ich nie sięgają i dla tego, jeśli chodzi o samodzielne ocenienie jakiegoś współczesnego autora, nie pomieszczonego jeszcze w szkolnych podręcznikach, gdy trzeba spojrzeć własnemi oczami, — bez pomocy profesów chwalić lub ganić, smak ich zawodzi. Najpiękniejsze rzeczy bywają potępiane, najsłabsze zyskują szybki, choć nietrwały rozgłos. Jest to prawie ogólną regułą, a wynika ztąd właśnie, że największe talenty są zawsze oryginalne i śmiałe, wskutek tego więc nie dają się ocenić przez porównanie; mierne zdolności zadawalniają się naśladownictwem i stają się przystępne dla umysłów płytkich, które do przechowanych w umyśle foremek szkolnych przymierzyć je mogą.

Każdy wielki poeta przy pierwszych krokach swoich na polu twórczości spotykał się z ostrą krytyką lub surowem potępieniem, każdemu prawie robiono zarzut z tego właśnie, co go później nieśmiertelnym uczyniło, — z odwagi wypowiadania nowych myśli w nowej formie. Słusznie też mówi Wollzogen, że każdy wielki talent jest rewolucyjnym; nie dążyłby bowiem do objawienia się, gdyby nie czuł, że coś nowego stworzyć, coś starego zburzyć może i powinien. Ogół współczesnych rzuca na niego kamieniem potępienia, a pociechę stanowi dla niego tylko myśl, którą niegdyś wyraził Słowacki:

„Kiedyś serca młode
Pokochają mnie za to, żem był śmiały
Jak Roland, który w pół rozcinał skały“.

Cześć dla gwiazd nowych wytwarza się zrazu tylko w kilku wybranych umysłach lub w zastępach młodzieży, a staje się powszechną i obowiązującą dopiero wtedy, gdy młodzi wielbiciele zestarzeją się i wejdą do areopagu powag, któremu wolno upodobania swe ogółowi narzucać.

Jest to zwykła kolej rzeczy, znana wszystkim, którzy zjawiskami społecznemi się interesują i nad psychologią mas zastanawiać się zwykli. Nie zadziwi ich też fakt, że taka ogólnie uznana wielkość, taka potęga, przed którą cały czytający świat dzisiaj czołem bije, że Goethe w pierwszym okresie swej twórczości spotykał się z temi samemi zarzutami surowej i bezwzględnej krytyki, co najśmielsi nowatorowie teraźniejsi. W ostatniem dziele swojem „Menschen und Werke“ przytacza Brandes ciekawe z tej dziedziny fakta. W r. 1776 duński następca tronu zażądał od teologicznego fakultetu w Kopenhadze sprawozdania, czy dzieło Goethego „Cierpienia Wertera“ bez uszczerbku dla dobrych obyczajów może być czytanem. Gdyby odpowiedź wypadła przecząco, należało zapowiedziane tłomaczenie dzieła tego skonfiskować. Fakultet teologiczny po głębszem rozpatrzeniu sprawy uznał, iż dzieło zakwestyonowane „w y s z y d z a r e l i g i ę, i d e a l i z u j e z b r o d n i ę i d o b r e o b y c z a j e na szwank naraża“, wskutek tego więc zabroniono je drukować i rozpowszechniać. Nie ma, jak widzimy, najmniejszej wątpliwości, że na zasadzie antyprzewrotowej ustawy „Cierpienia Wertera“ dziś napisane, ukazaćby się w druku nie mogły.

Sąd fakultetu teologicznego w Kopenhadze nie był wyjątkowym i nikogo ze współczesnych zadziwićby nie mógł. W Medyolanie biskup polecił duchownym, aby całe wydanie tłomaczeń „Wertera“ wykupili i tym sposobem cichaczem z ruchu księgarskiego wycofali. Pastor Goetze w Hamburgu napisał o książce tej broszurę, w której twierdzi, iż jedynym jej celem jest „haniebne samobójstwo młodego narwańca usprawiedliwić i ten czarny występek jako bohaterstwo przedstawiać“. W Lipsku nałożono 100 tal. kary za posiadanie i rozpowszechnianie tego dzieła.

Starsi literaci Danii niechęć swą do Goethego rozciągali i na Schillera i na całą wówczas tak bogatą literaturę niemiecką. Jeden z nich, Pram, wyraził się w ten sposob do Oehlenschlägera: „Gdybym niemieckiemu podoficerowi powiedział: napiszesz mi taką sztukę jak „Wallenstein“, i gdyby mi ten nicpoń nie wykonał rozkazu w 24 godzin, zasłużyłby na 27 kijów!“ Inny znów poeta Sander wyrażał się o Goethem jako „o człowieku dzikich, niepohamowanych namiętności, który swego pięknego talentu na złe używa“. Wogóle uważano go wówczas jako niebezpiecznepo marzyciela, uwodziciela młodych ludzi, a czytanie dzieł tego niemoralnego pisarza było wprost rzeczą nieprzyzwoitą, która porządnej młodzieży ubliżała.

Zarzucano mu także pychę, zarozumiałość, brak powagi; — Baggesenowi, duńskiemu poecie, wydawał się kapryśnym i nieobliczalnym. Ten ostatni miał taką dla Goethego niechęć, że będąc w Zurychu, nie odwiedził Lawatera, nie chcąc u niego spotkać się z Goethem. Napisał też o nim wiersz, w którym taką naprzykład wyraża krytykę:

„Er hat dem Pöbel manches Buch geschenkt,
Worin *er* niemals dacht, und jede Zeile denkt!“

Brandes uważa słusznie, że te same wyrazy w dziesięć lat później uchodziłyby za najwyższą pochwałę.

Jeszcze w 1820 roku, gdy Goethe stał u szczytu swego rozwoju, pisze pewien duński romantyk minorum gentium: „Schiller jest to niewątpliwie duch potężny i pełen natchnienia, ale właściwej genialności, mojem zdaniem, w dziełach jego niema; co do Goethego to lekkomyślność, zuchwalstwo a przytem chłód marmurowy zupełnie jego umysł opanowały“. Jakże wielkie wymagania stawiają geniuszom miernoty,

---

waniem od dłużników akceptów i pobieraniem skromnego procentu, wynoszącego co najwyżej 8 proc. na miesiąc. Pan Antoni, jak każdy prawdziwy filantrop, pozostawał zawsze w ukryciu i korzystający z jego dobrodziejstwa nie wiedzieli nawet, komu je zawdzięczać mają. „Paskudna ustawa“ o lichwie jeszcze wówczas nie istniała, a pobieranie dość wysokiego na oko procentu łatwo da się wytłomaczyć tem, że niejeden z dłużników wyjechał daleko, zapomniawszy weksle wykupić, a paru nawet było tak niegrzecznych, że zaziębiwszy się na balu, zapadli na zapalenie płuc i przenieśli się po krótkiej lecz ciężkiej chorobie do wieczności, pozostawiając w nieutulonym żalu rodzinę, oraz pp. Mojżesza i Antoniego.

Nie jest zamiarem piszącego te słowa podawać obszerny, a bogaty w czyny życiorys p. Gandziarowskiego, zaczepiwszy jednak o źródło powstania majątku mojego bohatera, jako bezstronny historyk musiałem wspomnieć i o tych plotkach i bajkach, które charakterowi p. Antoniego, jak się czytelnik z dalszej narracyi przekona, nic nie uwłaczają, a są tylko jednym dowodem więcej, że zawiść ludzka szuka ofiar dla swej żółci nawet tam, gdzie należałoby złożyć wieniec zasłudze i prawości.

Rzuciwszy więc zasłonę na dalsze dzieje mego bohatera, winienem przypomnieć Szanownym Czytelnikom, że na wiosnę r. 1887 Kraków stał się widownią wspaniałych zapasów, nazywanych wyborami do Rady miejskiej. Na czas ten zamówiły drukarnie krakowskie wielką ilość papieru, a właściciele handlów jeszcze większą ilość tego gatunku piwa, które bez względu na to, skądkolwiek pochodzi, nazywa się zawsze pilzneńskiem. W tym czasie zrodziło się kilkuset „zbawców ojczyzny“, w tym czasie salus reipublicae była na ustach wszystkich, w tym czasie też mieliśmy samych Katonów i Demostenesów; pierwsi umieszczeni byli na kartach wyborczych, drudzy po knajpach i handelkach.

Każdy mniej więcej Krakowianin stawał się zaciekłym agitatorem, pojedyńcza sprzedaż numerów „Czasu“, „N. Reformy“ i „Kur. Krakowskiego“ zwiększyła się jednocześnie ze wzrostem ducha publicznego w narodzie; posłańcy rozdawali kartki, wzywające w imię najświętszych zasad, aby nie głosować na Patykiewicza lecz za Łopatowskim, a najtęźsi z pomiędzy nich dźwigali osadzone na kijach plakaty, na których wielkiemi czarnemi głoskami wypisanem było, komu „obywatele-wyborcy“ mają powierzyć losy miasta i ojczyzny i czyje zasługi uczcić należy senatorskiem krzesłem w b. pałacu Wielopolskich. Apteki w tych dniach wydały wiele pigułek żelaznych dla zahartowania ciała zmęczonego w bojach o zwycięztwo prawdy i sprawiedliwości, a pan Ihnatowicz nadesłał ze Lwowa kilka pak „balsamu lingwistycznego“, po którego użyciu najbardziej strudzony język nabiera nowej elastyczności. Obywatele-szewcy otrzymali znaczną ilość podzelowań do prędkiego wykonania, a obywatele-lakiernicy wyprzedali cały zapas farby czarnej, którą „malowało się“ przeciwników politycznych. W dniach tych — chcemy obraz nieco jeszcze uzupełnić — profesorzy uniwersytetu wykładali po... warsztatach, doktorzy wzięli w czułą opiekę... zdrowych, stolarze heblowali uszy... krawcom, krawcy szyli... buty liberałom, szewcy kroili... kurtę stańczykom, lichwiarze rozdawali za darmo pieniądze, kamienicznicy zapraszali na wódkę niepłacących czynszu lokatorów, muzycy grali nie na skrzypcach i wiolonczeli, lecz na sercach ludzkich, a w teatrze jedynie z braku czasu nie wystawiono arcydzieła szekspirowskiego: „Wiele hałasu o nic“. Że zaś tam, gdzie walczą mężowie, idą z sercem i z szarpiami niewiasty, przeto i damy krakowskie szarpały języczkiem resztę płci swojej, każda stosownie do przekonań politycznych swego męża, w tej błogiej nadziei, że gdy zwycięztwo będzie po jego stronie, jej przypadnie w udziale nowa zarzutka lub kapelusik „a la grenouille“. Dla tego to, a nie dla czego innego, w drugiej połowie czerwca cicha dotąd i spokojna pani Antoniowa, stała się walczącym legionem, który niósł śmierć i pożogę wszystkim, co śmieli mu stanąć na przeszkodzie.

Bo trzeba państwu wiedzieć, że panu Antoniemu sprzykrzyło się wiecznie wybierać, a nigdy

i jakże płytko moralizują niekiedy istoty bez znaczenia — dodaje Brandes.

Biskup Jan Paludan Müller stawia Goethemu zarzut, iż malował on człowieka jedynie jako mieszkańca ziemi, a nie jako dziedzica nieba zarazem. To było jego zdaniem, wielką zbrodnią poety; chcąc więc wzbudzić we wszystkich dobrych chrześcianach wstręt do dzieł jego, polecał gorąco książkę, zawierającą parodyę jego Wilhelma Meistra.

Biskup Grundtwig sądzi, iż we Fauście — w scenie, w której bohater zawiera przymierze z dyabłem, autor sam wobec własnej myśli uczucia grozy doznaje, a w każdym razie przejmuje grozą czytelnika, znającego historyę upadku pierwszych ludzi.

W innem miejscu mówi, iż „blask Goethego jest zimny i martwy; usiłował on nim pokryć i uszlachetnić wiele rzeczy trudnych w swych dziełach“.

„Historyą traktował Goethe z lekceważeniem a za karę odwróci się od niego i pominie go historya“.

Jak widzimy przepowiednia bynajmniej się nie spełniła.

Nazwiska krytyków i nieprzyjaciół Goethego, z których niejeden sam się może za jego współzawodnika uważał, pokryła nagła niepamięć, zarzuty ich wydają nam się dziś dziecinne — naiwne i śmiesznie zarozumiałe. Jednakże kamieniem na nich rzucać nie mamy prawa, ani też wyśmiewać ich nieznajomości rzeczy.

Gdyby Goethe był dziś między nami, gdyby obecnie pisać i wydawać dzieła swe zaczynał, obeszlibyśmy się z nim nie lepiej niż współcześni wielkiemu poecie krytycy i czytelnicy. Nauczono nas w szkole czcić kilka wielkich imion, a znajomość, jeśli nie dzieł, to przynajmniej ich tytułów uważamy za konieczny warunek średniego wykształcenia. Nie rozumiemy jednak ani ducha autorów dawnych, ani praw twórczości wogóle i dla tego rozróżniamy wielkie talenty tak jak podobno turyści angielscy rozróżniają w galeryach arcydzieła — tj. za pomocą gwiazdki umieszczonej w Baedekerze przy ich tytule. Bez Baedekera nie orientujemy się ani w dawnej, ani w nowszej literaturze. Jestem głęboko przekonaną, że naszej średnio wykształconej publiczności możnaby odczytać jako utwór bezimiennego autora niejeden ustęp z dzieł naszych wielkich poetów i wywołać okrzyk oburzenia na śmiałość, nowatorstwo, niemoralność, cynizm itp. Jeśli jednak z góry zapowiemy, że autorem jest ta lub owa uznana wielkość, ciż sami słuchacze wymagający i surowi ze czcią i uwielbieniem, choć może niezbyt uważnie, wysłuchają rzeczy, za które potępiliby autorów, mających tylko talent i dopiero dobijających się sławy.

Przypomina mi to oburzenie pewnej pensyonarki, która nie mogła darować Maryli, że za Mickiewicza nie wyszła. „Może kochała Puttkamera“, tłomaczyłam biedną Wereszczakównę. „Jak można kochać takiego Puttkamera, mając do wyboru wielkiego poetę“. „Mickiewicz wówczas dopiero zaczynał pisać — mówię dalej — nie był jeszcze wielkim poetą. Nie można wymagać od Maryli, aby w nim geniusz przeczuła“. — „Można — ja przeczułabym geniusz nawet w dziecku“. Winszuję, ale nie bardzo wierzę“. Cóż się okazało? Taż sama pensyonarka brała wówczas lekcye muzyki od Paderewskiego i nie cierpiała zarówno jego jak i jego lekcyi, które właśnie z tego powodu musiały się przerwać po kilku tygodniach. Talent jego oceniła dopiero później, gdy zdobył uznanie na obu półkulach.

Takie wiecznie powtarzające się pomyłki powinny nas nauczyć ostrożności w sądach i tolerancyi dla młodych talentów, które szukają sobie dróg nowych. Może kiedyś wnukowie nasi będą się w klasie uczyli nazwisk tych ludzi, których my dziś jako zarozumiałych nowatorów potępiamy. Dla tego też, kto bieg historyi śledził i rozumie, ten nigdy się nie zgodzi na narzucanie pęt duchowi ludzkiemu, wiedząc, że przemijają zakazy i cenzury, że przebrzmiewają płytkie moralizowania filistrów, a geniusze sławą okryci idą wciąż naprzód i ludzkość wbrew wszelkim zaporom idzie w ich ślady.

I. Moszczeńska.

Sylwetki poetów czeskich.

II.

Jarosław Vrchlicky.

Jarosław Vrchlicky wszechstronniej od Czecha zużytkował lutnię. Zadziwia ilością wydanych pieśni, mysz nie jest tak płodną jak natchnienie poety. A poeta mówi o wszystkiem — o potędze ducha i o nędzy robotnika. Czerpie materyał ze wszystkich stron, czasów, narodów. Poruszył, zda się, w utworach świat cały — nadewszystko starożytność i epokę odrodzenia. Jest on najpierw liryk, dalej epik i dramaturg. Wydał blisko 120 tomów, z czego 35 przekładów poezyi obcej. W każdym nadto niemal numerze tygodników czeskich znajdujemy co najmniej pół setki wierszy Vrchlickego. Ta niezwykła twórczość, a z drugiej strony wszechstronność tematów, świadczyć mogą bądź to o geniuszu, bądź o słabych stronach jego poezyi. Vrchlicky uważany jest za wielkiego poetę i cieszy się uznaniem daleko poza granicami kraju. Czesi mianują go czeskim Hugo, a więc zbiornikiem patosu. Minął czas, gdy Hugo był poczytywany za wielkiego mędrca; a Vrchlicky? Po przeczytaniu jego pieśni możemy na wyżej postawiony dylemat odpowiedzieć: „Vrchlicky nie jest geniuszem. Posiada on bajeczną pióra łatwość, włada pięknie językiem, (wraz z Czechem jest niejako twórcą nowej mowy czeskiej) zadziwia rymów doborem, olśniewa strof rozmaitością, ale zarazem nuży nas jego rozwlekłość słów, pustodźwięczność i jałowość w podawaniu myśli a bezmoc w przeprowadzaniu płodnych pomysłów.

W opowieściach z czasów starożytnych kryją się zazwyczaj myśli dość błahe, a już do obrzydzenia często mówi poeta o miłości, i mówi nudnie. Składa jej hołdy, jak bożyszczu, uznaje, że ona jedna jest czemś na świecie, i eksperymentuje na każdej bogini starożytnej, na legendach znanych całemu światu, których nadto bardzo często nie wykończa, jak mówi Horacy „aż do paznogcia“. Co za różnica między nim a Macharem! I ten mówi o miłości, w początkach gra na lirze Musseta i Heinego — w ostatnich zaś pieśniach ukazuje obrazy kobiet cierpiących z powodu miłości okłamywanej, niedoszłej, zamierającej i żyjącej w myślach, gdy ciało do innego należy. I Machar ceni miłość, ale jego boli, że „róże nie kwitną tam, gdzie powinnyby kwitnąć“, że warunki życiowe, towarzyskie i społeczne przemieniają nawet to pociech ziemskich źródło na stojącą wspomnień wodę, które pomimo, że trują, — odradzają się bezustannie, jako odblask słaby niezniszczonego szczęścia. W Macharze wszędzie kęs życia i psychologia, — u Vrchlickego strofy, rymy, piękne słowa i tyle.

A czy Vrchlicky umie przelać powab i życie natury na papier? Rozsiewa on wszędzie tyle dźwięcznych słów — djamentów, rosy, gwiazd i kwiatów, że pod ich deszczem tracimy prawie widok przyrody. Jako malarz natury i jako epik-poeta nie dorównuje Czechowi. Ten maluje obrazami, — tamten ładnemi słówkami.

Ale Vrchlicky popełnił samobójstwo, wydając „Twardowskiego“, gdzie rozstrzyga problem życiowy. Miło być towarzyszem garstki nowożytnych dostojników: Goethego, Byrona, Dostojewskiego i naszych tytanów; od biedy przyjemnie iść nawet pod rękę z Lenauem. Ale „Twardowski“ nie jest hasłem, na które

---

nie być wybranym. Czy to on co gorszego od jakiegoś doktora, aptekarza, lakiernika albo, Panie odpuść, żyda, aby nie mógł decydować czy na ulicy Wolskiej ma być bruk kostkowy czy zwykły, lub czy gaz zaprowadzić wcześniej na ulicy Krowoderskiej czy Łobzowskiej? Lata są, powaga jest, kamienice dają stanowisko w społeczeństwie, brak tylko tytułów i zaszczytów, a więc kiedy 33 krzeseł wakuje w Radzie, dla czegożby na jednem z nich nie miała zasiąść poważna i korpulentna postać pana Antoniego? Wybierał on już, prócz radców miejskich, posłów do sejmu i do Wiednia: Rydzowskich i Zyblikiewiczów, Majerów i Weiglów, Chrzanowskich i Mieroszowskich, a raz nawet jednego dnia dał głos do Rady Państwa liberałowi Romanowiczowi, bo tak mu poradził prof. od św. Jacka, a nazajutrz przy ściślejszych wyborach głosował za konserwatystą Machalskim, bo go o to prosił urzędnik ze starostwa, — słowem, wypełniał przez lat dwadzieścia sumiennie i ściśle obowiązki obywatela, niechże teraz obywatele nie odmówią mu swych głosów zaufania.

Tylko, powiadają, że kto chce wejść do Rady miejskiej, musi się oprzeć na jednem z stronnictw istniejących. Stronnictwa te nie przedstawiają tego lub owego kierunku w gospodarce miejskiej, bo ktoby tam na takie błahostki zwracał uwagę, ale rekrutują się z politycznych mężów, pracujących nad dobrem Europy i ludzkości. Pan Antoni, odzwyczaiwszy się od czytania, nie zajmował się nigdy kwestyami politycznemi, gazet nie przeglądał, w knajpach całkiem nie bywał, nie miał więc wyobrażenia o walce zasad i przekonań. Czuł tylko, że coś takiego istnieć musi, bo kiedy jeszcze chodził na prawo, słyszał, że ludzie w braku lepszego zajęcia kłócą się z sobą o jakieś idee, wymyślają sobie straszliwie, przezywają się i piszą na siebie niestworzone rzeczy. Obijały się również nieraz o jego uszy wyrażenia: ty stańczyku! ty warchole! — a chociaż nie badał, o ile te przezwiska są zaszczytne i co właściwie oznaczają, gdyż badania te nic wpłynąć nie mogły na wysokość pobieranych czynszów z jego kamienic, to wszakże jako człowiek inteligentny przypuszczał, że wyrażenia te mają jakieś znaczenie i wskazują na pewne różnice pojęć i zasad. Wiedział też, że stańczyki trzymają ze sobą, a liberały ze sobą, i że o łaskę jednych lub drugich przy wyborach ubiegać się należy. Pragnąc zapoznać się z zasadami stron obu, wezwał pan Antoni do pomocy dawnego swego przyjaciela, p. Salzstangla, pewny, że ten mu co potrzeba wyjaśni i rozumem swym dopomoże.

Pan Salzstangel po długim namyśle tak rzecz przedstawił:

— Widzi pan dobrodziej, potrzeba panu wiedziecz, że stańczyki to są ci, co zrobiali pogrzeb temu panu marszałkowi Zyblikiewiczowi, a liberały to ci, co zrobiali pogrzeb temu panu Kraszewskiemu, co takie piękne obrazy wimalowywał. Stańczyki to chcą, żeby tyjatr był na placu Szczepańskim, a liberały chcą go sobie wibudowacz na plac św. Ducha; stańczyki to chcą wistawicz z mosiądzu tego pan Tadeusza Mickiewicza przy nowem Kolegium a liberały chcą mu wistawicz na rynku; stańczyki to mówią: „bedże Polska“ tak po cichu, coby nikt nie słyszał“, a liberały krziczą „bedże Polska“ z wielkim hałasem“; stańczyki to mówią, że pan Jakubowski jest kepełe, a liberały co kepełe jest i pan Weigel i pan Romanowicz; stańczyki to chcą sobie wistawicz na błoniach i bidło i midło, i krowy i szelki, i kozy i wozy i cybule i gęszi i z pszieproszeniem szwinie, a liberały mówią co bedże wielgi potop i bidło sze utopi i szwinie sze utopią i bedzie gewałt*); stańczyki to jak co u bidnego żydka pożyczą, to nie zawsze oddadzą, a liberały to zawsze by oddali, tylko im nikt nie chce pożyczicz; jak który hrabia ma gełd, to stańczyk, a jak un goły to liberał; jakby stańczyki nie mieli pieniądzów, to uni by buli liberały, a jakby liberały mieli dużo pieniądzów, to uni by buli stańczyki. A soj.

---

*) Szła wówczas walka o to, czy urządzić wystawę krajową.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

otwiera się świątynia, gdzie wielcy siedzą kapłani. Poeta za pomocą lichych bajeczek chce rozwiązać węzeł gordyjski. Używa on dwóch postaci — Twardowskiego i dyabła — i manewruje niemi jak może, aby przekonać, że jedyną mądrością jest rzucenie się w ramiona wiary. Pomijam wątpliwość takiego rozstrzygania kwestyi, ale gdyby choć przeprowadzenie tej myśli było estetycznie i logicznie wyzyskane. Cóż jednak, kiedy pan Twardzio to rozkapryszony dzieciak, a dyabeł to jego dobrze płatna bona, zadawalniająca malca zachcianki. Gdyby zamiast tego p. ,,boniarz" wytargał raz i drugi smarkacza za uszy, byłoby po pisku. Dyabeł mógłby go wziąć na barana i hajda do Belzebuba. Jeno ów dyabeł — Boże zmiłuj się! — Gdybym był Lucyferem, dałbym mu zaraz kartkę zwolnienia ze służby. Zbytecznem jest przedstawiać życie Twardowskiego. Powiem tylko, że on nie sam oddaje się w ręce dyabła, jak Faust, lecz ofiarowany jest czartowi przez swego ojca i przyjmuje to nadto bez oporu, a problem życiowy rozstrzyga się przedewszystkiem za pomocą czynu, walki. Jest więc on zupełnie słabym, obcuje z dyabłem nie jak równy z równym, lecz od początku samego jest o całe niebo niższy od dyabła.

Mam to przeświadczenie, że większość po przeczytaniu ,,Twardowskiego" zwątpiłaby, aby Vrchlicky mógł napisać coś potężnego. Krytyka poważna już dziś głosi, że od poety nie można się niczego spodziewać, okrom czasami zgrabnych wierszyków i mniej więcej udatnej liryki. A Vrchlicky ma zaledwie 42 lata. To wiek, gdzie od autorów oczekuje się największej siły myślowej.

O Konopnickiej mówią, że naśladowała Vrchlickego. Bez wątpienia. Poetka nasza ma w początkach też nadobłoczność, — w opisywaniu natury mglistość, wielosłowność a mało plastyki. W ostatnich jednak utworach, — zwłaszcza w nowelach, — jakaż tam jędrność! to prawdziwie męzka siła, prawda i naturalność. Konopnicka ma siłę rozwojową. A Vrchlicky? Najlepsze, najoryginalniejsze jego płody są początkowe. Im dalej w las, tem więcej obcych naleciałości. Konopnicka mniej chwyta, więcej myśli. Vrchlicky za wiele chwyta i pisze, aby miał czas dobrze przemyśleć. Zdaje się, że kiedy rzuca na papier pieśń, — tworzy jednocześnie już drugą w fantazyi.

Najwięcej prawdy, najszczersze uczucia znajdują się w jego początkowych zbiorkach. Smętny ton ogrzewa pieśni, myśli tam krótko i zwięźle wyrażone, są to utwory świeże, o porównaniach oryginalnych, z serca płynących. A już tutaj poeta potrąca o wiele strun. Z pierwszych występów widać, że autor będzie pił z różnych źródeł i nie zasklepi się w jednostajności. I tak jest. Ale poeta rychło przemienia się w wytwornego epikurejczyka. To arystokrata, wygodniś, miłośnik piękna, to człowiek-rococo, eklektyk, odziewający zazwyczaj swe pienia w najwykwintniejsze strof szaty. Pieśni jego to w znacznej części galerya obrazów, kopiowanych fantazyjnie z dzieł obcych, — lecz wszędzie znać rękę bardzo wprawną.

Jednak śród niezliczonej gromady pieśni znajdzie się zaiste nie mało i z pieczęcią jego indywidualności, bo Vrchlicky jest pomimo wszystkiego poetą, zwłaszcza lirykiem. I w liryce przedewszystkiem trzeba go szukać. A mniemam, że tu można wybrać tyle oryginalnych perełek, że bądź co bądź starczą na cenny naszyjnik dla ozdobienia jego muzy, i tyle delikatnych, egzotycznych kwieci, że wonią swą mogą nasycić miłośników poezyi. Ale nie szukajmy tam laurowych liści, z których upleciony wieniec zdobi sfałdowane myślami czoła ludzi-orłów: Goethów i Mickiewiczów; tych nie ma czeski poeta.

Jako dramato- i komedyopisarz Vrchlicky odznacza się ładną dykcyą, względnie bogactwem porównań, gdzieniegdzie humorem, ale brak mu siły przeprowadzenia charakterów również jak poważnej pomysłowości w zawiązywaniu intrygi. Więcej słów niż działania. Materyał zazwyczaj historyczny.

Najwięcej jednak może Vrchlicky zasłużył się swemu społeczeństwu przyswojeniem obcych dzieł i arcydzieł. Vrchlicky to czeski Canini. Dał on poznać Czechom 400 poetów cudzoziemskich. „Boska komedya", „Jerozolima oswobodzona", „Faust" i „Dziady" zostały przez niego udostępnione. Krytycy wprawdzie głoszą, że wiele z jego przekładów nie ma wartości, bo poeta nie pojął myśli (n. p. „Fausta"), ale jest spora ich wiązanka, które odpowiadają oryginałom. Z tem wszystkiem przekłady jego karmiły i karmią Czechów płodami najznakomitszych, zwłaszcza francuskich i włoskich poetów, którzy z powodu małej u Czechów znajomości obcych jezyków, nie byliby znani. Czesi zanadto zasklepiali się w literaturze niemieckiej.

Vrchlicky pozwolił im z innych czerpać źródeł i za to już należy mu się wdzięczność od rodaków.

Ze szkodą dla własnego talentu Vrchlicky oddaje się bezustannej pracy. Jest on maszyną piszącą. Utwory jego noszą też często znamię roboty maszynowej. Ale za to stworzył on tyle pieśni, ile z niebios spogląda światełek błyskotliwych, — jeno więcej śród nich planet, oblanych blaskiem słońca, niż promieniejących samodzielnie gwiazd. Niestety, spotykamy także mnóstwo, zwłaszcza większych pieśni, które nam przypominają niewyraźną, mdłą buzię księżyca, witanego już przez słonko wschodzące. Bo co do głębokości myśli Machar jest pewną siebie rybą rzeczną, która i do morza wiedzy dopływa, — Czech niejako kaczęciem, zanurzającem głowę w toń rzeki, które jednak nie przejrzało aż do dna, — a Vrchlicky to ptaszę, które i nad Oceanem fruwa, lecz ledwie zamoczy w nim skrzydełka, już śpiewa. A szkoda, bo gardziółko ma pięknym obdarzone głosem. Takiemi różnorodnemi trylami nie udarował literatury ani Czech, ani Machar, a jednak z większą rozkoszą czytuję ostatnich.

Vrchlicky wydał nadto kilka tomów powiastek prozą, studyum o Leopardim i profile poetów francuskich. Był pewien czas redaktorem „Svetozora", a dziś jest profesorem uniwersytetu w Pradze.

Prawdziwe jego nazwisko Emil Frida.

Zygmunt Makowiecki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Prawo kobiet i małżeństwo.

I.

O Zeusie, pocóżeś zesłał na ziemię kobietę — to okrutne zło, ludziom na biedę!" — woła bohater Eurypidesa. „Rolą kobiety — jak twierdzi Indyanin — jest: otwierać kufer piekielny i wypuszczać na ziemię choroby, wojny, rozterki, głód itp.„ „Kobieta — uczennica żmii, wrota dyabelskie, ogon skorpiona" — mówi chrześcianin z pierwszych wieków. „Nie może należeć do rodu ludzkiego, gdyż nie posiada duszy" — utrzymywali fanatycy VI wieku. „Kobiety są s e x u s s e q u i o r pod każdym względem, rodzaj stojący niżej, drugi numer istoty ludzkiej. Swoją naturą skazane na uległość. Rozum ich nie jest wielki; puste, krótkowzroczne, przez całe życie są dziećmi" — woła Schopenhauer. Obok tych głosów potępienia rozlegały się przyjazne dla niewiasty od najdawniejszych czasów. Jeszcze Platon wywiesił sztandar zupełnej równości natury kobiet i mężczyzn. Dewizą zaś rycerzy średniowiecznych było „służenie Bogu i białogłowie". Henryk Agryppa w XVI wieku mówił: „Kobieta piękniejsza od mężczyzny, zdolniejsza od niego i wogóle lepiej obdarzona przez naturę".

Mimowoli przychodzą mi na myśl te wszystkie głosy z przeszłości, gdy przedstawiam sobie

---

KAZIMIERZ TETMAJER.

Rzeźbiarz Merten.

(Kontur do noweli.)

(Dokończenie.)

Zdawało mu się, że coś wyje w nim z trwogi, kurczy się i zrywa, że coś krzepnie w nim i tężeje. Spojrzał na ręce i rzucił okiem w lustro. To za chwilę ma być trup! — wyszeptał. — Nie! Nie!...

A więc żyć?!... Żyć i dopuścić do tego, że rodzice wyciągnąć rękę będą musieli, błagając ludzi o litość, o miłosierdzie? Znieść tę hańbę, ich hańbę i swoją?!... I on także będzie musiał żebrać, bo i dla siebie niema na obiad i mieć nie będzie. Więc pójdą wszyscy troje pod kościół siąść, czy po ulicach się włóczyć?

Ogarnęła go rozpacz, bezgraniczna i wściekła. Giń! Giń! Giń! — wołało w nim coś. — Giń ty, co na życie zarobić nie umiesz. Giń niedołęgo, nędzarzu, wyrzutku! Podłego ba nie masz odwagi sobie roztrzaskać, ale będziesz miał odwagę patrzeć, jak twoich rodziców psami szczuć będą, będziesz miał odwagę patrzeć na ich łachmany, na ich głód, na ich śmierć z nędzy! Będziesz miał odwagę znieść ich skargi i wyrzuty i spojrzenia ludzkie! I co ty sam poczniesz?! Co ty jeść będziesz?!...

Dławiące, kurczowe łkanie porwało go za gardło: — Jezu, Jezu, Jezu! — szeptał — Jezu, pomóż mi umrzeć, pozwól mi umrzeć, bo widzisz, że nie mogę inaczej, nie mogę... I w tej chwili wierzył całą duszą, całem sercem, wierzył, jak dziecko, albo kobieta, tylko uczuciem, tylko uczuciem.

Ah! Gdybyż teraz wyciągnął ku niemu ręce Chrystus, ręce białe i jasne, i do siebie go wziął, do siebie przygarnął.

— Cudu! — jęknął.

Ale dokoła było cicho i martwo. Więc wówczas Merten rewolwer wziął i ponownie przytknął lufę do czoła. Chwilę stał, nie mając sił na pociągnięcie cyngla, zamgliły mu się oczy, zawirowało coś w głowie i padł na kanapę, puszczając rewolwer z dłoni.

Nie było to zemdlenie, ale niemoc taka, że powiek podjąć nie mógł, ani wargami poruszyć. Zdawało mu się, że krew zastygła w nim.

— Gdyby umrzeć — myślał — gdyby umrzeć...

Powoli niemoc ta śmiertelna w półsen jakiś przechodzić zaczęła. Śniło mu się niby, a niby wiedział, że mu się śni tylko, że leży w jakimś ogrodzie, pełnym róż i zieleni, na ścieżce, wysypanej złoconym się w słońcu, suchym, żółto-białym piaskiem. Zupełnie taka ścieżka, jaka była u nich na wsi, przed dworem. Nieco dalej rosły świerki i cień rzucały na trawę, szumiąc cicho i zadumanie. Leżał prawie na wznak, z głową tylko opartą na wyciągniętej ręce. Nie był martwy, a jednak nie czuł nic, ani światła, ani ciepła od słońca. Wiedział, że istnieje, ale zupełnie zamarły. W ogrodzie było dziwnie jasno i miło, jakiś zaczarowany świat. Chciałby był tak leżeć bez końca.

W tem na ścieżce pojawili się jego rodzice. Ojciec szedł, opierając się na lasce, niezwykle rzeźko i swobodnie, matka podpierała go z prawej strony, jak zawsze. Nie zmienili się nic, tylko matka była siwa, jak ojciec. Oboje szli z uśmiechem na twarzy, z jakąś radością wielką. Za niemi ujrzał Juliusz panienkę, w białej sukni, z polnemi konwaliami przy gorsie, tak piękną i wdzięczną, jakiej nawet nie marzył nigdy. Miała także uśmiech na twarzy i jakąś radość wielką w ciemnoszafirowych oczach. Rodzice stanęli nad nim i ojciec rzekł:

obraz dzisiejszej walki o kobietę i jej prawa, gdy szereguję w pamięci wszelkie „idee“, polemiki, tendencye powieściowe. Mamy i swoich Platonów, i Indyan, i Eurypidesów, i rycerzy średniowiecznych obok pochmurnych Szopenhauerów, a nawet fanatyków z VI wieku. Kwestya kobieca jeszcze nie przestaje być źródłem wytartych komunałów, pustych frazesów, haseł, wykrzykników, pomimo że powstała w tym zakresie poważna literatura. pomimo że na całym świecie cywilizowanym i u nas stała się znaczną częścią społecznych warunków bytu, tak samo, jak wogóle kwestya pracy. Nasi wstecznicy usiłują odegnać straszydło „feminizmu“ za pomocą kamyków z wyłomów ogniska domowego, które sami dla własnej wygody porobili w ukryciu przed „kapłankami“. Nie wiedzą, czy nie chcą wiedzieć o tem, że ruch feministyczny, to już nie straszydło teoretyczne, że zaznaczył on głęboko swoje ślady w życiu rzeczywistem, że wreszcie tego rodzaju „emancypacya“ nie jest to samo, co histeryczne porywy pewnej gromady kobiet, po za deklamacyą niezdolnych ani do pilnowania kojca domowego, ani do szerszej działalności na polu społeczno-ekonomicznem, o którem marzą, jako o wielkiem posłannictwie. „Feminizm“ prawdziwy — to chleb i prawo człowiecze. Szerzej pojęty nie wyklucza on ogniska domowego, przeciwnie — racyonalniej je traktuje i stara się nadać mocniejsze podstawy wychowaniu przyszłych pokoleń.

Na Zachodzie istnieją już dziś stowarzyszenia niewieście dla polepszenia bytu ekonomicznego kobiet, zapewnienia im skutecznej opieki prawa pod względem obyczajowym, lub w celu dania tylko sposobności zgromadzania się i niesienia sobie pomocy wzajemnej. Wreszcie są towarzystwa, dążące do reformy prawa o małżeństwie. Nie jest to wszakże ruch ściśle kobiecy, odrębny i prywatny. W ostatnich bowiem czasach już nawet izby prawodawcze niektórych krajów współdziałają w sprawie polepszenia losu kobiet. Tak np. nadzwyczaj jest doniosła reforma w prawodawstwie angielskiem, dokonana w r. 1870 i 1882 przez uchwalenie praw, dających kobiecie zamężnej legalną niezależność, czego dziś nie mają jeszcze ani Francya, ani Belgia i Szwajcarya. Wogóle rządy zaczęły zwracać uwagę na głosy kobiet i uwzględniać ich żądania. W Paryżu podczas wystawy powszechnej 1889 r. przyznano opiekę rządową „kongresowi“ prac i instytucyi kobiecych, a w Chicago r. 1894 powstał „pałac kobiet“ dla pomieszczenia wystawy wszelkiego rodzaju płodów pracy niewieściej, dzięki znacznej zapomodze rządu Stanów Zjednoczonych. Działalność „Federacyi wielkobrytańskiej i kontynentalnej“ tudzież wielu innych stowarzyszeń, wydała już sporo owoców pożytecznych, ale nie zdołała przełamać zbyt stwardniałego muru przesądów, nawet na Zachodzie.

„Prawa kobiety“ — to przedmiot najbardziej irytujący zesztywniałych zachowawców. Podsuwają oni zamiast prawa inny warunek społeczno-domowy: — obowiązek jak gdyby ten istniał jedynie dla kobiety. W gruncie rzeczy prawdziwy prąd dzisiejszego feminizmu bynajmniej niema na celu odrywania kobiety od jej naturalnego powołania. Chodzi tylko o wzmocnienie podstaw placówki w życiu domowem i ogólnem, a tem samem o uświadomienie w doniosłości zadań, które bez względu na ciężar, nie gniotłyby jej, jako „jarzmo koniecznej niewoli“. Tym sposobem nadanie pewnych praw może nie zaszkodzić lecz wzmocnić i rozszerzyć poczucie obowiązku.

Takiego mniej więcej zdania są właśnie rozumni i trzeźwi feminiści, a między nimi L. Bridel, profesor na wydziale prawnym w Genewie, wielki zwolennik uregulowania stanowiska kobiety w życiu domowem i społecznem za pomocą prawodawstwa. Jest to zwrot prądu „emancypacyi“ bardzo racyonalny i niezmiernie ważny, więc ze względu na jego przyszłą rolę warto mu trochę uwagi poświęcić, do czego właśnie daje nam sposobność najnowsza książka Bridela*). „Któż zdolniejszym jest do pracy użytecznej dla dobra innych — powiada autor — i kto lepiej może spełniać powinności swoje, czy niewolnik, pozbawiony swobody, czy człowiek wolny, będący w pełnem posiadaniu swych praw indywidualnych?“ Na to pytanie odpowiedziało już niejednokrotnie życie i w niezliczonych przykładach dowiodło, że tylko swoboda owych praw indywidualnych wydaje piękne owoce. Częstokroć wszakże ludzie nawet pełni uczuć i porywów humanitarnych nie chcą widzieć tej prawdy jedynie w zastosowaniu do kobiety i na obronę jej zależności przedewszystkiem wysuwają kwestyę pedagogiczną, która, jak to mieliśmy niedawno przykłady, ujawniła u nas silne żywioły wstecznicze. Tymczasem owa strona pedagogiczna jest głównym podkładem całej sprawy. „Jeżeli jedyną racyą bytu i celem kobiety jest mężczyzna — powiada Bridel — należy ją oczywiście wychowywać „ze względu na niego“ i tak właśnie czyniono dotychczas. Jeżeli przeciwnie, kobieta jest istotą ludzką w całem słowa tego znaczeniu, t. j. prawdziwą „osobą“, należy jej dać sposób do całkowitego rozwinięcia swojej indywidualności, co właśnie zaczynają robić teraz“.

Z tą kwestyą łączą się wszelkie inne, głównie na podkładzie ekonomicznym, o których mieliśmy sposobność już nieraz mówić, więc pomijając je, bierzemy kobietę wobec prawa po za małżeństwem i w jego ogniwach. Czy prawo opiekuje się dostatecznie młodem dziewczęciem wobec brutalnych zamysłów mężczyzny? Czy dziecko czternasto lub piętnastoletnie może pozostawać bez legalnej opieki pod tym względem? Prawo, opiekujące się z drobiazgową troskliwością interesami pieniężnymi małoletnich, czyż niema obowiązku czuwania nad dobrem o wiele cenniejszem? Zamach na obyczaje i uwodzicielstwo powinny być przedmiotem rozporządzeń prawnych, ożywionych innym duchem niż ten, pod którego wpływem powstały różne kodeksy (francuzki karny z r. 1810). Czy z punktu prawa cywilnego jest sprawiedliwe i normalne, ażeby następstwa stosunków płciowych po za małżeństwem ciężyły wyłącznie na kobiecie, gdy mężczyzna pozostaje najczęściej wolny od rzeczywistej odpowiedzialności? Na szereg tych pytań powinno we wszystkich państwach odpowiedzieć prawo, przystosowane do życia.

Niemniej domaga się reformy stanowisko prawne kobiety w małżeństwie. Ponieważ według ogólnego pojęcia rodzina jest „właściwem polem działalności kobiety, racyą jej bytu i celem życia“, zatem powinna przynajmniej w tej dziedzinie posiadać prawa, zabezpieczone legalnie. Przegląd prawodawstw europejskich wykazuje atoli wielkie braki w tej mierze i to najbardziej w krajach uważanych za liberalne. Następstwem legalnej podległości władzy męża jest zatarcie osobowości kobiety, a ztąd wynika między innemi niezdolność prawna do rozmaitych czynności życia cywilnego; usunięcie z pod jej rozporządzenia wniesionego przez nią majątku. Zarobek jej osobisty należy do męża, jak zarobek niewolnika — do pana. Wreszcie prawa matki poświęcone są prawom męża. Kobieta wogóle zamężna lub niezamężna nie może stawać w charakterze świadka przy spisywaniu testamentu, aktu ślubnego albo urodzenia. Niezdolna do sprawowania opieki nad małoletniemi, nie wolno jej być członkiem rady familijnej, z wyjątkiem gdy chodzi o własne dzieci. Kwestya praw cywilnych kobiety jest zatem pierwszorzędną.

Niegdyś w wielu krajach kobiety podlegały wogóle „opiece nad płcią“ (tutelle du sexe) pod względem swej osoby i majątku. Dziś już tego nie ma, ale za to faktycznie pod innemi względami podobna opieka istnieje w zmienionej formie. Według wielu prawodawstw kobieta, cywilnie zdolna przed zamężciem, staje się prawnie niezdolną od chwili wyjścia za mąż, t. j. mniej więcej znajduje się w takiem położeniu, jak małoletni, chorzy umysłowo tudzież osoby, mające kuratora lub dozór sądowy: nie mogą kupować, sprzedawać, czynić zobowiązań, odwoływać się do sądów i t. d.

W pewnych epokach i krajach, między innemi u żydów, świadectwo kobiety nie zasłu-

*) Świeżo przełożona przez Maryę Chojecką p. t. „Prawo kobiet i małżeństwo“, studyum krytyczne z zakresu prawodawstwa porównawczego. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1895.

— No, Julu, wstań, ona przyszła.

Dla czego nie wstawał, nie wiedział; było mu to zresztą zupełnie obojętne, jakby nie do niego ojciec mówił.

Potem odezwała się matka, ogromnie kochającym głosem:

— Wstań, syneczku, ona przyszła. Wymodliłam ją dla ciebie, wyprosiłam u Boga. Włosy mi osiwiały od modlitwy, od nocy na klęczkach spędzonych. Patrz, czy nie śliczna? Niesie ci szczęście, niesie ci wesele, niesie ci raj. Wstań dziecko najdroższe, ona czeka. Bóg nam ją dał, wynagrodzi nam wszystko złe. Podaj jej rękę, wstań.

Ale jemu było zupełnie obojętne to, co mówiła matka. Słyszał, ale nie czuł nic. Naówczas zasmuciły się twarze rodziców i zasmuciła się twarz panienki, co z niemi przyszła do ogrodu. I uklękła ona przy nim i podjęła mu głowę i patrzała nań dziwnie słodko swemi ciemno-szafirowemi oczyma, nie mówiąc nic — ale on leżał nieruchomy.

Wtedy ona położyła mu głowę na piasku, rodzice uklękli przy niej i wszystko troje płakać poczęli cicho i śmiertelnie smutno. On czuł ich łzy, spadające mu na czoło, na przymknięte na pół powieki, na usta. Ale kiedy ojciec jęknąwszy: — Jezu! — upadł mu na piersi, a matka, z rozdzierającym krzykiem w tył się osunęła, w ramiona klęczącego obok dziewczęcia, Juliusz wstrząsnął się cały i porwał z miejsca.

Ocknął się, siedząc na kanapie. Zimny pot spływał mu po czole, drżał cały, myśli zebrać nie mógł.

— Tak, ona przyjdzie, ona przyjdzie — szeptało mu coś w duszy — ale przyjdzie zapóźno... Wymodlisz ty ją matko u Boga, wyprosisz, ale po to, aby za trumną moją szła, po nic więcej...

Półsenne marzenie zdenerwowało go do reszty. Miał ochotę płakać, skarżyć się, czuł potrzebę wypowiedzenia komuś całej krzywdy swego życia, całej jego boleści... Gdyby ona teaz przyszła, niosąc mu to szczęście, ten raj... Gdyby mógł usiąść u jej nóg, głowę jej na kolana oprzeć i mówić, mówić, ażby wypowiedział wszystko, wszystko wyskarżył... A potem poszliby gdzieś w inny świat, w jakieś lasy szumiące, nad jakieś morza i jeziora senne, na góry zlote od słońca... Umiałby ją tak kochać, tak kochać, tęskni do niej tak serdecznie, on, któremu kochać nie wolno, on, dla którego miłość jest czemś zupełnie niedostępnem, który nie może znać innych kobiet, oprócz modelek i dziewek ulicznych.

Umiałby ją tak kochać, onaby go tak podniosła, tak wyszlachetniła, byłaby mu natchnieniem, zdrowiem, światłem, wszystkiem... I ona jest, jest, czeka na niego, tylko on jej pójść poszukać nie może, tylko on nie może po nią pójść, bo... niema za co!...

Pięści przycisnął do czoła i z głuchym jękiem szalonej rozpaczy i szalonej wściekłości rzucił się twarzą na oparcie szeslongu. W jakiemś spazmatycznem łkaniu leżał długo, a łzy grube i gorzkie spływały mu z oczu. Wreszcie dźwignął się, otarł twarz i wstał z szeslongu. Podszedł ku oknu: słońce zaszło już i mrok zapadał.

— Ostatni wieczór... — rzekł półgłosem.

Teraz myśl samobójstwa była już postanowioną: wszelkie refleksye odtrącił, trwogi się pozbył, żal względem rodziców przewalczył, żalu dla świata nie miał. Całą duszę swoją wyszlochał, całe życie swoje wylał w tych łzach, pierwszych od tylu lat i ostatnich na zawsze. Teraz nie było w nim już nic, tylko śmierć, chęć śmierci.

Swobodnym ruchem podjął upuszczony na ziemię rewolwer: mógłby sobie w tej chwili wpakować kulę w serce, ale może jeszcze, bez żalu pożegnać się z tem, co niegdyś kochał nad wszystko, z naturą i sztuką. Niegdyś, bo czas,

giwało na wiarę. Ztąd prawdopodobnie pochodzi późniejsze lekceważenie świadków w spódnicy, bardzo nielogiczne, bo w sprawach drobniejszych; gdy tymczasem świadectwo takie zupełnie jest wystarczające dla dowiedzenia zbrodni i skazania winowajcy na śmierć (tam, gdzie kara taka istnieje). Niektórzy obrońcy kodeksów posługują się rozumowaniem również niezbudowanem na podstawach logiki: kobieta może być świadkiem urodzenia i przed urzędnikiem stanu cywilnego stwierdzić datę, ale żeby świadczyć w akcie urodzenia, nadać mu pożądaną uroczystość — potrzeba mężczyzny. Co do testamentów i innych dowodów notaryalnych, pierwszy lepszy może spełnić powyższą formalność, gdy kobieta, przedstawiająca najlepsze rękojmie, nie ma w tym razie żadnego znaczenia.

Takie stosunki prawne panują we Francyi i innych krajach. Zresztą kodeks francuski sławny jest z wielu sprzeczności. Na nim się wzorował włoski, więc posiadał te same usterki. Dopiero r. 1877 poczyniono pożądane zmiany, które zniosły wszelkie rozporządzenia legalne, tamujące kobietom możność świadczenia we wszystkich aktach publicznych i prywatnych. Oczywiście tą drogą powinny pójść te wszystkie kodeksy, które stworzyły taką nierówność, niczem nieuzasadnioną a szkodliwą dla interesów ogólnych, bo nie ułatwia ona, lecz utrudnia redakcyę lub sprawdzanie wszelkich aktów publicznych i prywatnych.

Do powszechnego atoli uwzględnienia praw niewieścich w tej mierze bardzo jeszcze daleko. W większości państw europejskich kobieta niezamężna ma dziś pełną swobodę korzystania z praw cywilnych. Panna, wdowa lub rozwódka w zakresie zdolności prawnej stoi na równi z mężczyzną, z wyjątkiem gdy chodzi o opiekę lub świadczenie w aktach stanu cywilnego. Najbardziej zaś skrępowaną i upośledzoną jest mężatka, jako podlegająca władzy mężowskiej, rozciąganej nad osobą i majątkiem. Żona, związana „posłuszeństwem", pojętem w sposób nieograniczony, nie może bez zgody męża dopełniać żadnych aktów prawnych, dotyczących interesów ogólnych. W prawodawstwach europejskich tkwi zatem jeszcze dawna idea — o p i e k i n a d p ł c i ą, kruszącą najsilniejsze podstawy logiki. „Pan domu" korzysta z przywilejów średniowiecznych, chociażby był największym niegodziwcem i marnotrawcą. Przewaga ta występuje tem brutalniej, im jest niższy poziom umysłowy danej sfery. Prawo ochrania drapieżne instynkty mężczyzny, pielęgnuje potworne cechy jego charakteru, a towarzyszka pochyla głowę z rezygnacyą i skrycie żywi w swej duszy pierwiastki protestu, nieokreślone, niesformułowane, czasem rozpaczliwie wybuchające lawą uniesienia, prowadzącego do przestępstw kryminalnych. *Zenon Pietkiewicz.*

JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

W rosyjskiej Polsce przeciwnie, prasa jest o tyle skrępowaną, iż niepodobnem jej było nawet ostrzedz młodzieży przed pozbawionemi racyi i sensu, a tak tragicznemi w swych skutkach demonstracyami, które się w ciągu ostatnich paru lat, szczególnie za namową kobiet wciąż powtarzały, bo najlżejsze wzmianki o owych demonstracyach były surowo wzbronione, a przecież odznacza się ona i stoi niezaprzeczenie wyżej od galicyjskiej.

Ogólnie znana żywość i oryginalność polskiego umysłu mają swoje siedlisko głównie tutaj — może z powodu, iż tutaj jedynie wyższe klasy społeczne mają materyalne środki, dające im możność używania życia nowoczesnego w całej pełni, ze wszystkiemi jego wymaganiami. Trudno o bogatszy kraj rolniczy, jak Polska pod rosyjskim zaborem, każda piędź ziemi jest tu urodzajną, a szlachta posiada znaczne fortuny. Dwa razy spotkałem się w tym kraju z ludźmi, co mają przeszło milion rocznego dochodu. Korzystają też tu ze swych pieniędzy, rozumieją zbytek i używają go. W każdym zamożnym domu uwija się niezliczona moc służby, dwory są tak obszerne, że zatrzymanie na nocleg kilku lub kilkunastu gości nie sprawia gospodarzom najmniejszej różnicy, a panie nie dość, że się ubierają strojnie i elegancko, ale mają taką ilość toalet, że dotąd żadnej z nich, nawet pań domowych, nie widziałem dwa razy w jednej i tej samej. Mają przytem zwyczaj przebierać się dwa lub trzy razy dziennie, tak że gdy jadą na czas jakiś do kogoś w odwiedziny, zabierają z sobą zapasy sukien i niezliczone bagaże jak Sarah Bernhardt. Każda z naszych pań, które przecież nie mają się tu przed kim stroić na codzień, ukazała mi się dotąd co najmniej w pięćdziesięciu sukniach i to jeszcze sądzę, że powiedziałem za mało, a gdy raz spytałem, ile ich posiadają na ogół, żadna mi na to na razie odpowiedzieć nie umiała. Co zabawniejsze jednak, to to, że i mężczyźni równie często zmieniają tu ubrania, każdy z nich ma ze dwadzieścia nowych, kompletnych garniturów w swoich szafach, nie licząc w to mnóstwa okryć, paletotów, ubiorów do konnej jazdy, polowania itd. itd. Pod tym względem żyją tu jak za Soplicowskich czasów. Żadnemu nie zaimponowałby z pewnością Casal Bourgeta swą szafą pełną obuwia, obliczoną na wywołanie podziwu i zazdrości dystyngowanych snobów pomiędzy czytelnikami książki, gdyż każdy z nich posiada ich nie mniej od niego.

Pomiędzy trzema częściami Polski, które tak wiele z sobą łączy, bo język, przeszłość i wspomnienia, dziś niema żadnej wspólnej akcyi politycznej; w żadnym wypadku, bez wyjątku, nie mogłyby one działać zgodnie. Nie posiadają teraz nic, coby je w jedną całość zlewało: praw, monet, marek, miar jednakowych. Niema ani jednego człowieka, któryby jako działacz polityczny cieszył się równem uznaniem w trzech częściach kraju, a nawet na polu literackiem właściwie jedno tylko nazwisko Sienkiewicza bezsprzecznie jest stawianem na wysokości. Autor ten uważanym jest jakby za perłę korony polskiej, pomimo, iż nie jest to bynajmniej umysł pierwszorzędny.

Nic się nie robi realnego w celu utrzymania jedności ducha w tych częściach rozerwanego kraju, idealiści jednak pracują jak mogą. Wśród starszego pokolenia znajduje się grupa patryotów, zacnych marzycieli, naiwnych i pełnych nadziei ludzi, co nieustannie krążąc wśród zabranych prowincyi, usiłują za pomocą rozmów, zebrań, przeróżnych w najniewinniejszym rodzaju postanowień, utrzymać ogień święty przy życiu; wielka wystawa polskiej sztuki i przemysłu we Lwowie jest właśnie wynikiem ich pracy i starań. Nie da się jednak zaprzeczyć, iż dużo, bardzo dużo wydatniejszych ludzi z młodego pokolenia, tak mężczyzn jak i kobiet utraciło już nadzieję co do życia narodowego w przyszłości, odzwyczaiło się od śledzenia za jaśniejszemi punktami na widnokręgu, biorąc je z góry za błędne ogniki i z tego powodu otwarcie ze sceptycyzmem, w duszy nawet z ukrytem lekceważeniem przygląda się działalności starszych zapaleńców.

V.

Większa część lata już przeszła i powoli wędrowne ptaki: autorowie, poeci i dziennikarze zaczynają zlatywać się na zimowe leże do miasta. Byle się pokazać w jakiej restauracyi w Warszawie, natychmiast uściski, powitania, pocałunki w oba policzki, a każdy ze spotkanych wita temi samemi słowami: „Ach, cóż za niepoczciwość, żeby to przyjechać tu wtedy, gdy żywej duszy nie ma w Warszawie". Nie zwlekając, otwierają się upusty mowy ludzkiej, i jak za poruszeniem laski czarnoksięzkiej człowiek, tak długo samotny, staje się w jednej chwili wtajemniczonym w przeróżne literackie stosunki, setki prywatnych zajść i przygód, dziesiątki politycznych intryg i powikłań i cały ten chaos kwestyi o honoraryach autorskich, wydawcach, rywalizacyi i t. d. i t. d. Jednocześnie na pół zatarte we wspomnieniach wyłaniają się postacie i wydarzenia, zapomniane prawie nazwiska wra-

---

kiedy chciał żyć, wydawał mu się taki dawny, taki dawny... Więc patrzył przez okno na księżyc, który wychodził powoli na niebo, wśród lekkich mgieł i chmurek, pełnych kolorów zmiennych i dziwnych prześwietleń. Patrzał na kilka bladych gwiazd, sennych w niezmiernem pustkowiu przestrzeni i na lśnienie księżyca na blaszanych dachach kościelnych. Szkoda, że ani drzew, ani gór, ani wody nie widać; ale już nie pójdzie za miasto, jest zanadto zmęczony, a zresztą... nie trzeba rozrywać nastroju. Czuł się w ekstazie jakiejś, w upojeniu gorączkowem myślą tak blizkiej śmierci. Nie bał się jej wcale, był, jakby zahypnotyzowany.

I długo, długo patrzył w niebo szeroko otwartemi oczyma i wdychał jego ciszę i spokój i czar jego wieczornej piękności; a potem zapalił gaz w pracowni.

Były tu gipsy, roboty w glinie zaczęte, zarysowane kartony. Jedną z zagadek swego niepowodzenia miał tu Merten rozwiązaną: Wszystko to było doskonale robione, ogromnie wykwintną i na wskroś artystyczną ręką, ale miało charakter albo chorobliwej jakiejś fantastyczności, albo przechodzącego wszelkie granice zmysłowego wyuzdania. „Gwałt" i „Lesbijska miłość" stały tu od roku, na wystawę bowiem przyjąć tych rzeźb, mimo wspaniałej roboty, nie chciano, nie można było po prostu. Obok przeznaczona na konkurs „Wizya", przedstawiająca nagą kobietę, wychodzącą z wodnego sitowia z nożem w ręku, z twarzą przerażoną i z wyrazem obłędu w oczach, w jasnem świetle gazowem sprawiała ogromne wrażenie, choć jeszcze nieskończona. Z góry jednak profesor, który zwiedzał niedawno pracownię, oświadczył mu, że wątpi, aby mimo całej wartości artystycznej, rzecz ta uzyskała jaką nagrodę, gdyż jest niezrozumiała i potrzebuje komentarza. Dla czego nie idzie dalej, tak jak dawniej w kierunku klasycznym, skoro już dwie nagrody swoją „Dyanną" i „Psychą" zdobył?... Zupełnie tak, jakby natchnienie szło w jakimś kierunku, jak żeby on wiedział, zkąd mu się ta wizya wzięła i dla czego właśnie taka, a nie inna...

Nad drzwiami, na ogromnym kartonie narysowana była grupa nimf i faunów, spłoszonych podczas uścisków miłosnych przez wodnego potwora, grupa tak kolosalna, tak potężna fantazyą i tak zmysłowo odczuta, że odurzała wprost, wywoływała jakiś zawrót głowy. Wyrzeźbione, byłoby to dzieło olbrzymie i nadzwyczajne. Merten długo wpatrywał się w swoje gipsy i szkice na kartonach, których było mnóstwo i z gorzkim uśmiechem powtórzył głośno, kładąc rękę na czole, jak niegdyś francuzki poeta, słowa Andrzeja Chenier, kiedy go wyprowadzono na szafot: Et pourtant j'avais quelque chose là!... Ale to już skończone, dodał pół szepcząc. Aby nie dopuścić do osłabnięcia naprężonej sztucznie i z wysiłkiem prężonej ciągle energii, której zachwianie uczuł nagle, przeszedł szybko z pracowni przez korytarz do wielkiej sali antyków. Zapalił wszystkie płomienie gazowe. W sali stało się jaskrawo od światła.

Ileż tu godzin spędził, zapatrzony w boskie kształty Afrodyty melijskiej i medycejskiej, bezgłowej Nike Apteros i Psychy z odwróconą twarzą, lubieżnej Afrodyty Kallipigos i Fidyaszowej nimfy, wiążącej w locie sandał; w bohaterski tors partenońskiego Tezeusza i Dyskobolów kolosalne muskuły, ileż godzin przemarzył tu, jakby w zaczarowanym śnie... Cała Grecya słoneczna, złocista i promienna, pogańska i zmysłowa, stawała mu tu w oczach, zaklęta czarodziejską siłą fantazyi. Słyszał szum mórz błękitnych i szmery szeleszczących gajów oliwnych i pieśni rapsodów; z areny szedł na rynki miejskie, ze świątyń do gineceów, i do groty szedł na wyspie Melos, aby się tam zapatrzeć w bogini świętość zmysłową. Tu było jego wytchnienie, jego jedyna wyspa na ponurym

cają do pamięci i nagle niknie przestrzeń czasu, zdawałoby się, iż się dopiero rozstało z tymi ludźmi, a przecież to już siedem lat od owej chwili minęło.

Najświeższe, zajmujące wszystkich wydarzenie, to zaaresztowanie młodego lekarza.*) O godzinie czwartej z rana zjawiło się w jego mieszkaniu dwóch komisarzy policyi z podwładnymi i przedsięwzięto tak dokładną rewizyę, że nawet pocięto sukno na biurku, by się przekonać, czy nie ma pod niem ukrytych papierów. Zabrano wszystkie jego papiery i dokumenty i zawieziono go do cytadeli. Dwaj komisarze pozostali w jego mieszkaniu, gdzie został urządzonym rodzaj pułapki na tych wszystkich, co się w pierwszych dniach zgłaszali do owego lekarza. Pacyenci jego, przyjaciele i znajomi, wszyscy byli aresztowani i badani szczegółowo. Dotąd niewiadomo, z jakiego to się stało powodu, lecz przypuszczają, że zbierał on pieniądze dla studentów i młodych dziewcząt, zesłanych z powodu uczestniczenia w demonstracyi na pamiątkę powstania 1794 r. Rewizye takie odbywają się zwykle w nocy. Niejednokrotnie rzecz nie jest pozbawioną pewnego komizmu, szczególnie, gdy policya jest na mylnym tropie i nic znaleść nie może, tak jak to miało miejsce u znajomego mi autora Gawalewicza, u którego szukano jego rękopisów, by je porównać z rękopisem jakiegoś artykułu, wystosowanego przeciw Rosyi w jednej z krakowskich gazet, a który niewiadomo jakim sposobem wpadł w ręce policyi. G. leżał sobie spokojnie w łóżku, podczas gdy dom cały mu przetrząsano, a mały jego służący w kuchni był ściśle badany co do wszystkich gości, którzy u jego pana bywali. Od czasu do czasu wchodził doń komisarz policyi i prosił o papierosa, lub zjawiał się któryś z jego podwładnych, zapewniając, że może być spokojnym, gdyż rewizya dotąd nic podejrzanego nie wykazała; nareszcie bezowocne poszukiwania skończyły się tem, że żandarm wyprosił sobie u niego arkusz rękopisu, jak mówił „na pamiątkę". Tak, jak żeby ktoś tutaj mógł być o tyle nieostrożnym, by własnym charakterem pisane posyłać artykuły do Krakowa! W wyżej wzmiankowanym wypadku z młodym doktorem rzecz była jednak poważniejszą i nie poszła tak gładko. Rewizya rozciągnęła się też do mieszkającego naprzeciw studenta Stefana B. Po przetrząśnięciu wszystkiego, gdy pracowano u niego do godziny 8-mej z rana, zbliżył się doń żandarm, pytając: „Ale jakże panu ostatecznie na imię?" Wymienił je. „Stefan — powiadasz pan — nie, chyba Stanisław". „Powtarzam, że imię mi Stefan". „A! to przepraszamy bardzo, zaszła omyłka, bo rozkaz zrobienia rewizyi był na imię Stanisława".

*) Szmurło, — dotąd pozostaje w więzieniu. Przypisek tłom.

Naturalnie nie było to prawdą, lecz chodziło o pokrycie niezadowolenia i zawodu, że rewizya nie przyniosła pożądanych rezultatów.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KRONIKA GALICYJSKA.

(Wybory z większej własności. — Hr. Badeni prezydentem ministrów. — Nowy marszałek ks. Sanguszko. — Śp. ks. arcybiskup Feliński. — Śp. Gustaw Ehrenberg. — Śp. Żegota Pauli.)

W dwóch moich artykułach o wyborach galicyjskich nie wyczerpałem o tyle przedmiotu, o ile po ich napisaniu odbyły się jeszcze wybory z większej własności, czyli krótko mówiąc: szlacheckie. Nie przyniosły one żadnych wielkich niespodzianek, bo że tam jakiś szlachcic upadł, a inny się wydostał na wierzch, to jest całkiem obojętne dla ogółu, a ważne tylko dla niego, jego żony (jeżeli jest żonaty), jego dzieci (jeżeli się cieszy tem błogosławieństwem Bożem), wreszcie jego krewnych, sąsiadów i przyjaciół (jeżeli ich posiada). Pomimo jednak, iż wybory szlacheckie najmniej budziły interesu, nie brak w nich było paru epizodów bądź co bądź ciekawych. Taki np. p. Albin Rajski (pisze się przez *y*, bo to według nieuków ma być dowodem starożytności rodu, a jest tylko starą ortografią) kandydując na posła oświadczył za pośrednictwem „najmłodszego" Fredry (Aleksander był „starym", Jan Aleksander „młodym" pomimo lat sześćdziesięciu kilku, a więc hr. Andrzej jest „najmłodszym"), że przestaje być demokratą i literatem, jakim był dotychczas, odrzeka się lewicy i wszystkich jej spraw, a będzie odtąd konserwatystą, za co też *bene nati et possesionati* głosami go swemi obdarzyli. Z kandydatów upadłych wśród włościan wyszli z wyborów szlacheckich: ks. Adam Sapieha, p. Józef Męciński, hr. Mieczysław Rej i dr. Franciszek Paszkowski. Pogrzebano natomiast bez wszelkiej ostentacyi hr. Jana Stadnickiego, p. Popowskiego, prof. Zolla, dr. Rutowskiego i Tadeusza Langego. Sam sobie pogrzeb sprawił pan Dembowski, zrzekając się kandydatury na rzecz księcia Adama Sapiehy. Z pewną ostentacyą, bo z mowami pogrzebowemi pochowano w krakowskim okręgu pana Władysława Struszkiewicza i zawodowego parlamentarzystę Leona Chrzanowskiego. Znamienną rzeczą jest, iż szlachta zaczyna naśladować chłopów, w skutek czego obok „ruchu ludowego" zaczynamy mieć i „ruch szlachecki". Przed laty 18-tu wyszło ze szlacheckich wyborów dziesięciu „inteligentników", przed laty 12-tu liczba ich spadła na ośmiu, przed laty 5-ciu jeszcze pięciu z nich uzyskało w tej kuryi mandaty, przy ostatnich wreszcie wyborach tylko dwóch się utrzymało, a i to z wielkim trudem. Hasło: „szlachta dla szlachty" zaczyna więc odnosić tryumf zupełny. Dzięki temu hasłu, o mało nie upadł przy wyborach w okręgu krakowskim nawet dr. Michał Bobrzyński pomimo, że szlachta jest konserwatywna a naczelnik szkolnictwa galicyjskiego jest jedną z największych kolumn stronnictwa konserwatywnego. Ale bracia-szlachta zbuntowała się przeciw niemu, rozumiejąc: „przecież to nie nasz", „zkąd my przychodzimy" (język czysto galicyjski), aby nam narzucano inteligentów! I byłby dr. Bobrzyński tylko z galeryi przysłuchiwał się obradom sejmowym, gdyby mu nie przyszedł w sukurs hr. Kazimierz Badeni, który zagroził szlachcie, iż w razie nie wybrania dr. Bobrzyńskiego złoży swój krakowski mandat sejmowy. Strach przejął spiskowców i dr. Bobrzyński wyszedł zwycięzcą. Ale i tak niewiele brakowało, ażeby był przepadł, — w dniu wyścigów bowiem wyborczych na ośmiu biegających (a sześć tylko było nagród do rozdania) przybył dopiero piątym do mety, na długość zaledwie trzydziestu koni o. głosów przed p. Chrzanowskim, który pozostał „bez miejsca". Ten upadek p. Chrzanowskiego wart także podkreślenia w kronice wyborów. Kiedy go nie wybrano z miasta Krakowa „Czas" ubolewał nad upadkiem „tej jednej" z najcelniejszych sił sejmu, tego pracownika „w życiu parlamentarnem wszechstronnie wypróbowanego i doświadczonego", tego człowieka „żelaznej i niezmużonej pracy", który piastował mandat „godnie, sumiennie i z wielkim pożytkiem". Upadek jego — wołał „Czas" dalej — jest smutną ilustracyą pewnych wpływów, stosunków i sprężyn. Zdawało się więc, iż konserwatyści za żadną cenę Chrzanowskiego nie poświęcą i wybiorą go manifestacyjnie, jednogłośnie w krakowskiej kuryi większej własności. Tymczasem ci, co wyborcom miejskim zarzucali lekceważenie zasług Chrzanowskiego, nie dali mu ostatecznej ilości głosów, a więc sami zasługi jego zlekceważyli. Dziś zatem każdy wyborca krakowski, który nie oddał głosu Chrzanowskiemu, może powiedzieć: „sami konserwatyści go nie chcieli, zkąd więc do nas pretensya, abyśmy go wybrali".

No, ale dość już będzie o wyborach. Bohaterem dnia był, jest jeszcze, a może i na dłuższy przeciąg czasu pozostanie, hr. Kazimierz Badeni. Jeżeli nie dostał bólu głowy i rozstroju nerwów po owacyach, jakiemi go żegnano, to to samo już dowodzi, że ma tęgą głowę i nerwy z kutego żelaza. Pomijając przedwstępne pożegnania, zmuszony był przez całe dwa dni od rana do późnego wieczora słuchać rozmaitych mów na cześć swoją i odpowiadać na nie na konieczny stereotypowy temat: „Jestem głęboko wdzięcznym, jestem głęboko wzruszonym, jestem niezasłużonym, ale szczęśliwym, jestem pewny waszego poparcia i życzliwości".

---

oceanie życia, tu, opierając głowę na zimnych, kamiennych posągach kobiet, z których już nawet prochu nie zostało, wskrzeszał je i rozmawiał z niemi marzącą wyobraźnią. Ileż godzin spędził tu samotny... I zdawało mu się, że te posągi dawnej, pogańskiej Grecyi, mniej są dziś martwe i zimne. Zgasił kilka płomieni gazowych: przybyło im więcej jeszcze życia. Zgasił więc wszystek gaz i tylko księżyc snuł przez wielkie okna srebrzysto modre, mgliste wstęgi światła.

Odezwał się gdzieś daleki zegar na wieży: uderzył 9 razy i przebrzmiał w echu. Zrobiło się jeszcze ciszej po tym głosie.

Oparty o tors neapolitańskiej Wenery, bez głowy i rąk, bez nóg od kolan, stał Merten, w prawej ręce trzymając rewolwer zabrany z pracowni, lewą obejmując przepyszne biodra bogini. Kallipigos i Dyskobol, z dyskiem w lewicy, rysowali się wyraźnie w świetlistem omgleniu księżyca; inne posągi bieliły się w mroczu, a ponad wszystkiemi wznosiła się melijska Wenera, nieskazitelna. Na odwróconą twarz Kallipigos i na jej ciało, padał najsilniej blask miesięczny i prawie żywą ją czynił.

Merten patrzał.

Jakieś pragnienie śmiertelnej rozkoszy ogarnęło go: nie wiedział prawie, gdzie jest i co się z nim dzieje, pragnął tylko czegoś zmysłowo - nadzmysłowego, niepojętego i zdawało mu się, że to się zbliża ku niemu... Między wskrzeszoną martwością tych posągów, a sobą, mającym umrzeć za chwilę, czuł jakąś łączność, jakiś tajemniczy, dziwny prąd przebiegający. Duszę w te posągi wlał i poprowadził je gdzieś w świat, pełen fal błękitnych i muzycznego rytmu... marzył...

Zegar miejski uderzył znów trzy razy: Juliusz ocknął się; za kwadrans przyjdzie stróż zamykać sale. Przypomniał sobie wszystko i spokojnie rzekł:

— Już czas.

Jedna chwila, a będzie tak martwym, tak nieczułym na ból i niedolę, jak te białe gipsy i marmury i jak te ciała, które im kształt swój dały... Życie? Ręką uczynił ruch, jakby coś chciał odepchnąć od siebie. Nie chciał żyć: wszystko, co go łączyło z życiem, zabrały z jego duszy te łzy gorzkie, których rzekę wypłakał. Już teraz mógł spokojnie umrzeć, pośród tych głuchych pomników jedynego świata, w który chciałby pójść, gdyby po śmierci miejsce duchowi wybrać było można. A zresztą cokolwiekbądź będzie, niech będzie...

W tej chwili na korytarzu rozległy się kroki, ktoś otworzył drzwi od sali i stanął w nich: Merten szybko przyłożył lufę rewolweru do serca.

— Merten! jesteś tu? — spytał przybyły — szukam cię wszędzie. Jesteś?

— To ty, Krążel? Jestem.

— A cóż ty tu robisz po ciemku? — pytał dalej Krążel, zbliżając się ku Juliuszowi.

— Ot co! — odparł tenże i pocisnął cyngiel.

Rozległ się strzał, a potem ogromny huk, bo upadając, pociągnął Juliusz tors Wenery, który obejmował ramieniem; tors runął z postumentu na ziemię, druzgocząc się na części i miażdżąc martwą już głowę młodego rzeźbiarza.

Krążel stanął, jakby piorunem rażony; zrazu nie mógł pojąć, co się stało.

— Merten! — zawołał.

Nie odpowiedział mu nikt.

Więc wtenczas Krążel postąpił krok naprzód i opierając się drżącą ręką na pustym postumencie strzaskanej neapolitańskiej Wenery, rzekł zdławionym głosem:

— Coś ty uczynił matce, Merten, coś ty uczynił matce...

1894.

KONIEC.

A musiał to wszystko mówić na stojąco, z przytomnością umysłu, z pamięcią o tem, aby komu należy podać rękę, komu należy ukłonić się. Musiał udawać, że wysoce ceni nadanie mu obywatelstwa honorowego miasta Lwowa, choć wiedział, że Lwów ostatni wybrał się z tem obywatelstwem, że zapomniał o niem, kiedy w zeszłym roku udzielał ten „honor“ innym osobistościom, że nie chciał tym zaszczytem obdarzyć ani hr. Badeniego, ani namiestnika hr. Badeniego, a obdarzył dopiero prezydenta ministrów, choć ten jeszcze jako taki żadnych zasług położyć nie mógł. Musiał też hr. Badeni udawać wiarę w wielką życzliwość dla siebie ks. Adama Sapiehy, żegnającego go w imieniu szlachty, choć wróble na dachu wiedzą, że „czerwony książe“ nie pałał nigdy gorącą miłością dla „białego“ namiestnika. To też zmęczony owacyami zastrzegł sobie hr. Badeni, aby Kraków dał mu spokój i nie męczył go wynurzaniem swych „uczuć z głębi serca płynących“, podczas zatrzymania się na dworcu krakowskim w przejeździe do Wiednia. To też tylko jeneralicya żegnała hr. Badeniego w Krakowie. A! prawda — żegnał go i pan Jan Rotter, nowo wybrany demokratyczny poseł sejmowy, który sam jeden z dyrektorów szkół krakowskich ukazał się na dworcu i to w uniformie służbowym.

Ludzie obdarzeni proroczym duchem twierdzą, że hr. Badeni da sobie radę w Wiedniu, oczyści i wygładzi zardzewiałe koła maszyny państwowej i przepędzi gdzie pieprz rośnie wszelkie skrajności opozycyjne — inni, również proroczym duchem owiani, przeczuwają, że hr. B. zrobi *fiasco* (na wyraz ten śp. Bliziński bardzo i słusznie się gniewał), dowodząc, że co innego być energicznym namiestnikiem, a co innego prowadzić nawę państwową przez odmęty antisemicko-liberalno-pangermańsko-słowiańsko-młodoczeskie. Którzy z proroków mają słuszność. dowiemy się niebawem. Jednego tylko możemy być pewni, a mianowicie, iż hr. Badeni nie będzie prezydentem malowanym. Energicznym był zawsze, czasem nawet za energicznym — jeszcze kiedy był starostą w Rzeszowie nazwał go w parlamencie hr. Stanisław Mieroszowski „baszą rzeszowskim“, a Lwowianie ochrzcili go „Mikadem“ — a więc na energii mu nie zbędzie. Jeżeli zdoła przeprowadzić co swoją „żelazną ręką“ to przeprowadzi, a jeżeli nie, to z lekkiem sercem opuści swe stanowisko. Co do Galicyi, ta może być spokojna, że swego pierworodztwa galicyjskiego nie sprzeda hr. Badeni za miskę soczewicy. O stanowisko prezydenta ministrów się nie ubiegał — objęcie jego uważa, jak się sam wyraził i czemu wierzyć można, za „bolesną i pod wszystkiemi względami prawdziwie ciężką chwilę“. Można się nie zgadzać z jego działalnością jako namiestnika, można czynić mu zarzuty, ale nikt, kto umie wznieść się na wyżyny bezstronności, nie zaprzeczy, iż hr. Badeni chciał działać i działał w swem rozumieniu dla dobra kraju. Można inaczej to dobro pojmować, ale jest to już rzecz politycznych zapatrywań, a kto w polityce błądzi, kto zaś idzie właściwą drogą, to rzecz dyskusyi, a ocena należeć będzie do historyi, która będzie miała przed sobą już owoce błędów czy też właściwego dobra kraju zrozumienia. Czy tak czy owak, pozostanie zawsze szczerość zamiarów, której odmówić hr. Badeniemu niepodobna. I ta szczerość zamiarów będzie zapewne jego przewodnikiem i na nowem stanowisku. Nie przestanie on być obywatelem swego kraju, choćby go w najbardziej austryacką skórę zaszyto. Jego poprzednicy galicyjscy na fotelach ministeryalnych, z małym wyjątkiem umieli bardzo delikatnie rozróżniać w sobie dwie istoty, dwa patryotyzmy: polski i austryacki. Każdy prawie z nich, jeżeli nie mówił to czynami swojemi dawał do zrozumienia: „nie zapominajcie, panowie, że ja swoją polskość zawiesiłem tymczasowo na kołku, że nie jestem w tej chwili niczem więcej, jak tylko ministrem austryackim“. Każdy z nich formalnie się bał, aby go nie posądzono o sprzyjanie ideałom narodowym, a choćby o jakąś specyalną miłość dla Galicyi. To też każdą rzecz, która Galicyą żywo dotykała, odkładali na później, albo przeprowadzali lękliwie, z niesłychaną ostrożnością, aby nikt im nie zarzucił, że kierują się sympatyami dla Galicyi. Od Niemca Gautscha udało się nam wprawdzie nie bardzo wiele, ale zawsze dość sporo uzyskać na cele oświaty, od rodaka Madejskiego nic prawie się nie uzyskało. Za Gautscha, który na nowo dziś rządzi losami oświaty austryackiej, zapewne da się z czasem uzyskać przejęcie gimnazyum cieszyńskiego na koszt rządu, za Madejskiego, gdyby jeszcze panował, wątpię czyby Koło polskie odważyło się żądać tego obciążenia budżetu. Słowa: „nie trzeba rodakowi utrudniać stanowiska“ podkładano stale pod muzykę dla katarynki delegacyi polskiej. A wszystkie te objawy pochodziły z tego, iż każdy prawie z panów ministrów galicyjskiego chowu i rodu, za główny swój ideał uważał niewypuszczanie z rąk swoich teki ministeryalnej, bo ona jedynie dawała mu stanowisko wybitne i dość przyzwoite dochody. Hr. Badeni ma tę nad nimi wyższość, że o stanowisko się nie starał, a do pensyi ministeryalnej będzie musiał dokładać. Ta niezależność stanowi już jego siłę, a temperament jego, usposobienie, jeszcze ją podwajają. To też jest wszelka nadzieja, że nie będzie on w sobie *rozróżniał* dwóch istot, dwóch patryotyzmów, ale będzie je *godził* ze sobą. Nie zapomni zapewne nigdy, że jest prezydentem ministrów austryackich, ale będzie pamiętał jednocześnie, że stanowisko to bądź co bądź jest czasowe, że w Wiedniu stoi na chwiejnym pokładzie okrętowym, a w Galicyi stał silnie na ziemi. Jak tylko nominacya jego była już rzeczą pewną, wszystkie prawie dzienniki wiedeńskie usiłowały wmówić, że nie przyjdzie do steru rządu Polak Badeni, lecz Austryak Badeni. I byli tacy, co się u nas cieszyli, że Niemcy Badeniego „nie podejrzywają“. Dla karyerowiczów taka opinia była zawsze bardzo wygodną, ale hr. Badeni nie należy do tego rodzaju wygodnisiów. Nietylko więc nie skorzystał z łaskawie mu podsuwanej wyłączności austryackiej, ale zaznaczył wyraźnie przy pożegnaniu swoją łączność z krajem i własną przeszłością. Na słowa pożegnania ze strony wydziału krajowego zapewnił: „obowiązki moje względem kraju pozostają też same niewzruszenie“, wyborcom krakowskim wyraźnie powiedział, że „łączność z krajem i współobywatelami utrzyma“, a w odpowiedzi na słowa ks. Sapiehy wyrzekł do szlachty: „czuć mnie zawsze między sobą będziecie...“

Następcą hr. Badeniego na stanowisko namiestnika został ks. Eustachy Sanguszko. Gdyby mu przed paru laty powiedziano, że zostanie prezesem akademii umiejętności, niemniej by się zapewne zdziwił, jak się musiał zdziwić, kiedy zażądano od niego objęcia urzędu namiestnika. Ani mu się śniło nigdy o takiej godności i o takim zaszczycie. Nigdy nie był urzędnikiem, nie posiada fachowej wiedzy administracyjnej, nie czuje najmniejszego pociągu do wertowania patentów i ustaw, formalistyka go nudzi, cały podległy namiestnikowi aparat policyjny zapewne go razi i niemile drażni, do rządów nigdy się nie rwał, do rozkazów z Wiednia nie był przyzwyczajony, za energicznego nikt go nie miał i on sam siebie za takiego nie uważa — a tu mu powiedzieli: „zostań, książe, namiestnikiem!“ Wyobrażam sobie, jak się musiał żegnać, wymawiać, prosić, aby mu tej przykrości nie wyrządzano. Ale musiały być racye wyższej polityki, kiedy się nareszcie zdecydował położyć na tem madejowem dla siebie łożu.

Swoją drogą zapewne Galicya nic nie straci na namiestnictwie ks. Sanguszki. Wprawdzie będzie ktoś tam inny za niego rządził, ale charakter i uczciwość księcia są rękojmią, że niekorzystnie dla kraju rządzić nie zezwoli, że nie dopuści do nadużycia władzy, że będzie strzegł swobód konstytucyjnych. Bo lubo nie należę do wielbicieli naszych jaśnie wielmożnych i jaśnie oświeconych panów, to przecież ks. Sanguszkę muszę zaliczyć do tej garstki, którą się zawsze w myśli wyłącza, kiedy się mówi ogólnikowo a ujemnie o naszej magnateryi Ród Sanguszków był zawsze zacny i uczciwy, jaśniał cnotami obywatelskiemi. Książę Eustachy jest synem ks. Romana, którego pędzono piechotą w kajdanach na Sybir i który też w martyrologii polskiej ma piękną kartę. Takie nazwisko nosić w spuściźnie, i to nosić godnie, nie jest rzeczą zbyt łatwą. A ks. Eustachy godnie je nosi. Gdyby miał więcej energii i samorzutności, byłby zapewne silniej zamarkował swoje przymioty. Ale cichy, spokojny, poprzestawał zawsze na wypełnianiu włożonych na niego obowiązków, a ludzie tego rodzaju zbyt wielkim rozgłosem się nie cieszą. W roku zeszłym ożenił się książę Eustachy z Zamojską, a więc także z córką rodu, który pozostał bez skazy w tych czasach, kiedy na tarczy wielu najznakomitszych rodów plamy się ukazywały.

Wybory, hr. Badeni, nowy namiestnik — oto co nas zajmowało głównie w przeciągu ostatniego miesiąca i co się odbiło w dzisiejszej kronice mojej galicyjskiej. A kiedy jedni wyrastali, drudzy jak dojrzałe kłosy kładli się do grobu. Nie będę, rzecz prosta, rozpisywał się na tem miejscu o zasługach i znaczeniu ś. p. ks. Zygmunta Felińskiego, b. arcybiskupa warszawskiego, ale nie godziłoby się w kronice galicyjskiej nie zaznaczyć, iż oddaliśmy należny hołd jego pamięci. To jest, właściwie powiedziawszy, hołd ten powinien być większy, ale i tak na nasze stosunki wypadł on dość okazale. Duchowieństwo zrobiło, co do niego należało — sześć infuł biskupich postępowało przed trumną. Lwów przysłał deputacyę. Kraków uchwalił pokryć z funduszów gminy koszta pogrzebu, ale biskup ks. Puzyna nie pozwolił siebie zastąpić „w obowiązku“. Rzucono projekt pochowania zmarłego w grobie zasłużonych, ale projekt ten upadł, gdyż życzeniem zmarłego było być pochowanym w Dźwiniaczce, gdzie ostatnie lata przepędził. Projekt to zresztą był surowy pod wpływem chwili, bez dostatecznego namysłu — w grobie zasłużonych bowiem spoczywają tylko ludzie pióra, a ks. Feliński, lubo także niwę literacką uprawiał, i to nie bez talentu, zasługi swoje właściwe położył na innem, szerszem, bo ogólnonarodowem polu. O zasługach tych mówić będzie między innemi i tablica pamiątkowa na pomniku, który gmina miasta Krakowa uchwaliła zmarłemu wystawić.

Zeszedł też w krainę śmierci Gustaw Ehrenberg, wiele obiecujący niegdyś poeta, autor tak popularnych pieśni jak: „Hej tam w karczmie za stołem“ lub tej, w której się powtarza zwrotka: „O, cześć wam, panowie magnaci, za naszą niewolę, kajdany“. Zapał poetyczny ostudził Ehrenbergowi długoletni pobyt na Sybirze. Nie ostygł jednak zupełnie, bo dalej tworzył oryginalnie, lub tłomaczył arcydzieła. Poprzestaję na tej wzmiance, bo nie do korespondencyi należy podawanie życiorysów literackich.

A w chwili, kiedy to piszę, znów żałobne chorągwie powiewają z gmachów naukowych. Umarł Żegota Pauli, jeden z ludzi, który w Krakowie najwięcej umiał i który na polu naukowem położył niemałe zasługi, a więc zapewne dla tego nie był członkiem Akademii Umiejętności. Była to postać ze wszech miar oryginalna, ostatni może z zaginionego typu dawnych zbieraczy i badaczy naukowych. Postaram się osobno skreślić jego sylwetkę.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA BERLINSKA.

Berlin, d. 20-go października.

(Profesor i student niemiecki dawniej a dziś. — Nowe prądy, dzieło prof. Zieglera. — Mowa rektorska prof. Ad. Wagnera. — Socyalizm z katedry a kurs naukowy stow. dla polityki socyalnej.)

Do figur na wpół humorystycznych, na wpół smutnych, należeli do niedawna w Niemczech profesor uniwersytecki i student "bursz". Okraszają oni każdy numer „Fliegende Blätter“ i dostarczają tematu do najdowcipniejszych anegdot. Więc stary profesor musi z reguły mieć włos długi, rozwiany, figurę niepoczesną, wzrok zatumaniony; spogląda w niebo i pada w błoto, a i tam nawet nie widzi jeszcze, gdzie się znajduje: roztargnienie, nieznajomość gruntu

realnego życia, utonięcie w morzu abstrakcyi i nieporadność w sprawach praktycznych — mają to być znamiona od postaci profesora nieodłączne. Każdy z nich jest żywcem pogrzebany pod piramidami martwych liter, bez ducha i krwi, i pod pantoflem magnifiki; każdy chce w swoich słuchaczy przelać letnią wodę swoich teoryi, gdy im w głowie zupełnie co innego. Oni piją z reguły nie wodę, lecz piwo, i to takiemi masami, że zatłuszcza im ono mózg i serce, obciąża trzewia, a nogi wprawia w stan ciągłej niepewności. Między jednym aktem uroczystego upijania się a drugim, gra się w karty, a przedewszystkiem masakruje się kolegów na „mensurach“. Każdy jest więc „na gębie“ porządnie pokiereszowany, a im bardziej jest utatuowany, im więcej ma „szmisów“, tem wyższy obudza szacunek kolegów i podziw jasnowłosych „Gretchen“. Wszystko to zaś odbywa się wśród bezustannego biesiadowania, komersy są bez przerwy na porządku dziennym i nocnym. Z prawdziwie niemiecką dyscypliną ujęto nawet te zabawy w rygor; piwo żłopią podług ustalonego ceremoniału, tylko na komendę zaczynają gremialnie „einen Salamander reiben“, życie odosobnione prowadzi każdy, dopiero kiedy bez życia spity pada na ulicy. Wówczas zjawia się dobroczynny „polip“ i bursza zanosi do domu, czasami zaś, w razie wielkiego „spektaklu“, wędruje potem do „karceru“.

Takie i tym podobne obrazki z życia uczących się Niemców są dotąd bardzo jeszcze rozpowszechnione i niemało przyczyniają się do zapoznania właściwego usposobienia synów Germanii. Jest w nich bez wątpienia dużo prawdy, profesorowie duszą i ciałem oddani swojej umiejętności, studenci, których jedyną strawą umysłową jest knajpowanie, a jedyną bronią duchową rapir, nie należą do rzadkości, ale panującym typem dawno już oni być przestali. Byli nim może po roku 1848, kiedy reakcya zapanowała w całych Niemczech, a naród po wysiłkach idealistycznych, po udaremnionych porywach, w martwej wiedzy lub w bezmyślnem rozpasaniu szukał zapomnienia. Są nim potrosze w małych uniwersytetach, gdzie uczony żyje zdala od świata, a młody chłopak pragnie się wyszumieć wśród wesołej drużyny. Ale burszenszafty są równocześnie szkołą romantycznej przyjaźni, dyscypliny, hartu i odwagi, a przedewszystkiem najbardziej rozpasanego szowinizmu narodowego. One to wpajają w młodego Niemca nienawiść do innych narodowości i wyznań, one wywierają wpływ na całe jego życie. I gdy po kilku semestrach pożycia w tych warunkach każdy z prawdziwie niemiecką wytrwałością zabiera się do pracy — idzie potem w świat, jako skończony, od stóp do głów, Prusak.

Od lat kilku występuje w świecie nauczających i uczących się Niemiec nowy zwrot, który teraz z nieprzepartą siłą łamie wszystkie tradycye i szał szowinizmu narodowego zaczyna rozpraszać, inny nadając mu kierunek i ton inny. Socyalizm, który jest obecnie osią życia niemieckiego, wywarł i na te sfery wpływ potężny. Jeszcze w r. 1870 zorganizowali prof. Adolf Wagner i Schmoller „socyalizm z katedry“, który zwalczał i w Niemczech zupełnie zwalczył liberalizm ekonomiczny w teoryi i praktyce, i był jednym z czynników, które skłoniły państwo do podjęcia ustawodawstwa socyalnego. Kierunek ten, do niedawna zamknięty w gronie profesorów, obecnie zaczyna oddziaływać i na studentów; profesorowie zaczynają zwracać się do nich coraz częściej z katedry z wykładami nie o teoryi, lecz o aktualnej polityce socyalnej, a i poza katedrą organizują lub protegują kółka dla samouctwa w tym kierunku.

Rząd pruski zakazuje je na całej linii, ale prąd czasu jest, od niego silniejszy, zmusza każdego do studyowania kwestyi, socyalnej i wyrobienia sobie sądu, a uczących, dbałych o rozwój młodzieży na punkcie obecnie najważniejszym, zmusza do przyświecania jej radą i czynem.

Nowy ten kierunek reprezentuje także profesor uniwersytetu w Strassburgu dr. Teobald Ziegler, który przez kilka semestrów czytał, a teraz ogłosił drukiem rzecz o charakterze studenta niemieckiego. („Der deutsche Student am Ende des XIX. Jahrhunderts. Stuttgart“.) Jest to głos doniosły, świeży i jędrny, jaki rzadko się z katedry rozlega, głos uczonego, ale i człowieka; mówi z otwartością lekarza, z troską o przyszłość obywatela. Prof. Ziegler jest jednym z teoretyków, najzawzięciej zwalczających socyalizm, lecz nie może oczu zamykać na współczesny stan umysłów. Wchodzi w najgorętsze wiry czasu, wskazuje na przejściowy charakter naszej epoki, na konflikty między religią a wiedzą, między socyalizmem a indywidualizmem, między dążeniami do zachowania i do przewrotu panującego ustroju. Na tem tle maluje bursza niemieckiego, stawia mu przed oczy zwierciadło, wchodzi we wszystkie, przez hypokryzyę troskliwie ukrywane strony życia, wystawia mu świadectwo wogóle bardzo a bardzo niepochlebne. Nareszcie wskazuje mu nowe pole, nowe zadanie. Student nie powinien uprawiać praktycznej polityki, ale powinien ją poznać; powinien korzystać ze złotego przywileju młodości, aby marzyć, badać, zmieniać się i nie związany z ciasnym interesem chwili, dążyć do wyzwolenia swojej indywidualności.

Radzi mu chodzić na zgromadzenia polityczne, studyować pisma, a przedewszystkiem życie; obcować z robotnikiem, bywać w jego stowarzyszeniach, wykładać mu swoje teorye w sposób, który w Anglii prowadził do „ruchomych uniwersytetów“, i tak przebyć „kurs dla praktyki społecznej“. Oczywiście nie wszystko, co strassburski profesor daje, jest nam sympatyczne, ale jakżeż odbija ono od metody ludzi, którzy za największego polityka uważają strusia, a za prawdziwie błogosławionych — tylko ubogich w duchu. — Z Goethem jest zdania, że umysł rozwija się w zaciszu, a charakter tylko w walce życia, więc kierunek wskazuje najogólniej, a każe w własnej głowie szukać, o własnej sile, bez żadnych pasków rwać się naprzód.

Kierunek ten, jak każdy świeży zwrot, ma naturalnie wrogów; i w Niemczech są zwolennicy polityki strusiej, i tutaj chcą nieświadomość zaliczać do cnót. Pamiętnem jest posiedzenie parlamentu z pierwszych dni stycznia br., na którem „król żelaza“ baron Stumm wylał swoją żółć na profesorów ekonomii, uważając ich za propagatorów socyalizmu. Z całym impetem samowładnego królewiątka uderzył na tych, którzy w gruncie rzeczy wedle sił starają się zwalczać skrajności; w konsekwencyi doszedł do westchnień nad rozpowszechnioną zanadto wolnością nauki. — Najwięcej dotknęci wówczas prof. uniwersytetu tutejszego Wagner i Schmoller ostro na to odpowiedzieli, za co pierwszy został wezwany do bronienia swoich idei szablą w pojedynku. Krzyk oburzenia był odpowiedzią rycerskiemu baronowi; — studenci wyprawili swoim profesorom gorące owacye, — idee ich święciły tryumf. Obecnie tryumf ten doszedł do zenitu; — protestując przeciw zamachom na wolność nauki, uniwersytet berliński obrał Wagnera rektorem.

Była to pośrednio demonstracya przeciw rządowi, to też przy inauguracyi roku uniwersyteckiego, odbytej onegdaj z całym sztywnym pruskim ceremoniałem, nie było — wbrew dotychczasowym tradycyom — żadnego reprezentanta rządowego. Uwaga publiczności była w najwyższym stopniu naprężona, a nowy rektor wygłosił mowę o rozwoju ekonomii politycznej i jej stanowisku do socyalizmu. Imię i kierunek Wagnera, stojącego na czele socyalizmu państwowego, są dostatecznie znane; obecnie rozległy się podobne idee po raz pierwszy z trybuny rektorskiej, z miejsca, królującego nad pierwszą w państwie instytucyą naukową. „Tak jest — cytuję mówcę dosłownie — nowsza nauka ekonomii dużo się od socyalizmu nauczyła. Ale pozostaje ona z nim w zupełnej sprzeczności we wszystkich głównych punktach, w metodzie badania, w rezultatach tych badań, w nomenklaturze, etyce i podstawie swej filozoficznej. Że między studentami jest dużo socyalistów, to nie powinno zadziwiać przy łatwej zapalności młodzieży. Socyalizm jest czemś więcej, niż programem partyjnym. Jest filozoficznym poglądem na świat, z którego socyalna demokracya praktyczne wyciąga konsekwencye. Od wpływu tego kierunku nie powstrzyma się młodzieży sekaturami i małostkowemi „środkami ochronnemi“ podług wzorów z lat pięćdziesiątych, ani też tendencyjnie pisanemi książkami. Objektywne, wolne od przesądów zagłębianie się w nauce ekonomicznej — to tylko potrafi sprowadzić z drogi fałszywego socyalizmu“. Fałszywego — oczywiście w stosunku do jedynie zbawiennego, państwowego, który mówca propaguje. Ale ten poczuwa się na każdym kroku „do obowiązku wdzięcznego uznania, które umiejętność dłużną jest wielkim myślicielom: Rodbertusowi, Lassalowi i Marxowi, z których naród niemiecki może być dumnym“. A jeżeli oni błądzili, jest szukanie prawdy rzeczą innych ludzi nauki, nie zaś policyi...

W tym duchu przemawia magnificencya dalej, a wśród blisko pięciu tysięcy słuchaczy, uczęszczających na tutejszą wszechnicę, słowa jego budzą echo i zapał.

Innych manifestacyi nowych kierunków byłem świadkiem, uczęszczając na ukończony przed kilku dniami kurs naukowy, urządzony przez „Verein für Sozialpolitik“. — Stowarzyszenie to jest organizacyą socyalizmu z katedry, o którym pisałem wyżej i który w Niemczech prawie wszystkie bez wyjątku kadedry ekonomii opanował. Należy do niego mnóstwo uczonych i praktycznych polityków, stojących pośrodku między ekstremami manczesteryzmu i socyalizmu. Ze zadania swego, popularyzowania wyników nowszych badań socyalno-ekonomicznych, stowarzyszenie wywiązało się, urządzając podczas feryi wykłady kilkunastu przedmiotów, do których zaprosiło najwybitniejsze siły uniwersyteckie z Niemiec i profesora Filipowicza z Wiednia. Wchodząc przed kilku dniami do „collegium maximum“ wszechnicy, miałem wrażenie, iż się znajduję na kongresie socyalnej demokracyi we Wrocławiu. Na ścianach wielkie portrety Marxa, Lassala i Engelsa, we wszystkich rękach „Vorwärts“ i rozmaite broszury agitacyjne. To był wykład o socyalnej demokracyi. Największa sala była nabitą, mimo, iż opłaty były wcale wysokie; różnorodność i zachowanie się publiczności były dla psychologa niewyczerpaną skarbnicą spostrzeżeń nad wyobrażeniami „wyższych dziesięciu tysięcy“ o grożącem im niebezpieczeństwie socyalnem. Damy z najwyższej arystokracyi, wyżsi oficerowie, urzędnicy, mnóstwo młodzieży, a nierzadko i robotnik — wszystko to pochłaniało po 6 godzin dziennie ataki profesorów, bez wyjątku zgodnych w tem, iż sfera własności prywatnej powinna być ograniczona, tudzież, że sprawy socyalnej nie rozwiąże się ustawami wyjątkowemi, a socyalnej demokracyi nie zjedna się pogardą lub ignorancyą. Dla wielu obecnych były te idee nowością. Patrząc na portrety wymienionych przywódców partyi przewrotu, siedząca obok mnie dama zrobiła spostrzeżenie, że ci panowie wyglądają przecie wcale przyzwoicie. Wsłuchując się w dyplomatyczne, wyrafinowane zwroty głośnego Schmollera, były zadowolone wskutek jego zapewnienia, że nierówność między ludźmi jest bodźcem postępu i emulacyi i nigdy nie zniknie. Ogniste też rozlegały się oklaski, gdy Adolf Wagner z wymową prawie demagogiczną gromił nadużycia kapitału i propagował upaństwowienie fabryk, środków komunikacyjnych, gruntów miejskich; dumą napełniały wszystkich słowa Schmollera, iż mimo wszystkich walk i szkód, naród niemiecki może się szczycić tem, iż wielki ruch kulturny — socyalny, — w jego łonie pierwsze swe znajdzie rozwiązanie, tak, jak rozwiązanie swe znalazła w tym narodzie kwestya reformacyi religijnej.

Siedzący obok mnie Herman Sudermann miał w tej chwili na ustach delikatny, ironiczny uśmiech...

Zastępca.

Z prośbą o umieszczenie otrzymujemy odezwę następującą:

Odezwa.

System zbierania składek na cele narodowe poruszony w nr. 241 „Wielkopolanina“,

pragnie komitet Tow. Ochrony pracy kobiet zaprowadzić w całym zaborze pruskim i jak najśpieszniej takowy w czyn zamienić. Sposób ten nie narzuca nikomu nowych składek, wiemy bowiem z doświadczenia, że jest ich aż nadto wiele, przeciwnie nawet, jeżeli całe społeczeństwo poprze nasze usiłowania, uwolni się z czasem od nieustannego kołatania o nowe zapomogi. Pragniemy bowiem tym sposobem zapewnić stałe źródło dochodów dla naszych instytucyi, a nie narażamy nikogo na wyrzucanie pieniędzy. Każdy z nas rozseła do roku znaczną ilość telegramów z okazyi zaręczeń i zaślubin swych znajomych itd.

Celem naszym i gorącem pragnieniem, ażeby pieniądze, które bogaciły dotychczas pocztę, wpływały odtąd do naszych instytucyi narodowych. Wysyłanie depesz gratulacyjnych kosztuje w mieście 50 fen., (?) na wsiach daleko więcej: postanowiłyśmy zatem zastąpić takowe kartami zamkniętemi z polskim emblematem w cenie 25 fen., a dochód ze sprzedanych kart pójdzie na cele dobroczynne. Tym sposobem poczta zarobi tylko 10 fen., a każdy z nas będzie miał rzecz tę o połowę taniej.

W Czechach i Galicyi system ten już dawno zaprowadzony, zasięgłyśmy ztamtąd informacyi i udowodniono nam, że setki się tym sposobem zaoszczędzają. Ażeby każdy karty te z łatwością mógł nabyć, porozsełamy takowe po wszystkich większych i mniejszych miastach do tamtejszych księgarzy, i kupców, i osób prywatnych, a mamy nadzieję, że panowie ci nie odmówią nam tej przysługi i zajmą się bezinteresownie rozprzedawaniem tychże. Ponieważ karty te kupują zarówno kobiety jak i mężczyźni, ażeby więc obie strony miały równe korzyści z dochodów, postanowiłyśmy połowę osiągniętych pieniędzy przeznaczyć na fundusz Kościuszki, drugą połowę na Ochronę pracy kobiet w Poznaniu.

Tym sposobem przyczynimy się do kształcenia młodzieży i dopomożemy niejednej biednej kobiecie, uchronimy ją przed wyzyskiem ze strony żydów, a często uratujemy ją od nędzy.

Mamy nadzieję, że obydwa cele są zarówno sympatyczne i pożyteczne i że całe nasze społeczeństwo przychyli się do naszej prośby i odtąd będzie sobie miało za święty obowiązek, zamiast bogacić Niemców, kupować nasze karty i zasilać fundusze narodowe. Z całem zaufaniem liczymy na pomoc wszystkich bez wyjątku *Polek i Polaków*, że nie przyjmą naszej odezwy z obojętnością lub niedowierzaniem, lecz zajmą się gorliwie, ażeby ideę tę rozszerzyć w całym zaborze pruskim, że wobec coraz groźniejszego położenia naszego *narodowego i ekonomicznego* staną poniekąd na straży naszych instytucyi narodowych, dopilnują szczerze, ażeby żaden grosz *polski* nie poszedł w obce ręce i zainteresują sprawą tą całe nasze społeczeństwo. Każdy, kto nam dopomoże w naszej pracy, będzie miał wielką zasługę wobec funduszów narodowych.

Prosimy tych panów i panie, które chcą nam dopomódz w przeprowadzeniu naszej pracy i łaskawie karty rozsprzedawać, o nadesłanie swych adresów do redakcyi „Wielkopolanina“, Poznań, W. Garbary Nr. 50.

Przedewszystkiem zanosimy prośbę do Szanownych Redakcyi, aby zechciały odezwę od czasu do czasu powtarzać, prosimy też prezesów Towarzystw, aby myśl poruszoną popierali w swych Towarzystwach.

Cichowiczowa. Drobnikowa.
Zygmuntowa Dziembowska. Kusztelanowa.
Zofia Kusztelan. H. Łebińska. Węclewska.

Z estrady i sceny.

(Przedstawienia jubileuszowe.)

Tydzień już mija od pamiętnych dni jubileuszowych, a nikt z nas jeszcze zapewne cierpkich uczuć rozczarowania z duszy wypłoszyć nie zdołał. Wrażenia te z kilku mętnych popłynęły źródeł, — lwią część krytyki pozostawiam sąsiadującemu ze mną feljetoniście, tu zaś pomówię tylko o części teatralnej, o sztukach i programie.

Zdawaćby się mogło, że w chwili tak uroczystej jak rocznica ćwierćwiekowego istnienia sceny narodowej, scena ta wystąpi nietylko w odświętnej szacie, lecz ubierze się w najpiękniejsze klejnoty artyzmu i wytęży wszystkie siły, aby choć przez godzin kilka dać nam złudzenie staranności i prawdziwej sztuki. Na progu teatralnym wszystko zdawało się szeptać nam do ucha wróżby pomyślne. Wodotrysk, — cichy zwykle i martwy — szumiał radośnie, girlandy lśniły nadziejną zielenią, a odźwierni w czerwonych frakach (niezwykła to nowość w teatrze naszym) zapraszali tak uprzejmie i tak żywo krzątali się wśród publiczności, jakby usunąć chcieli każdy cień sceptycyzmu i niezadowolenia. Pierwszy wieczór też istotnie zaliczyć można pod względem artystycznym do najpiękniejszych momentów jubileuszu. Grano *„Śluby panieńskie“*, a grano je tak, jak dawno już nikt z nas na poznańskiej scenie nie widział. Postarano się przedewszystkiem o stylowe meble staroświeckie, i lubo tam niektóre szczegóły psuły jednolitość stylu, to przecież teatr przemówił do nas echem dni ubiegłych, echem naszych dziadów i babek. A występujący w tych „Ślubach panieńskich“ artyści — wyłącznie stara gwardya, zabytki ubiegłego sezonu, — dali istotnie to, co najlepszego talent ich posiadał. Pan *Królikowski* w roli starego Radosta uplastycznił kłopoty swoje i poczciwe, rozpływające się w pieszczotach bratanka-lekkoducha serce z tak głęboko odczutą prawdą, jaką tylko wielki talent z duszy swojej wykrzesać zdoła. Gdy zjawiał się na scenie, cały w chmurach i piorunach, a potem zwolna, rozczulony karesami Wacława, w słońce się zamieniał, to nie psuł żaden ton fałszywy skali barw i cieni. Żywość, elegancya i rzutkość pana *Knapczyńskiego* święciła również tryumf prawdziwy, a tkliwy Albin w interpretacyi pana *Łaskiego* był na wskroś poprawny, na wskroś roztopiony w sentymentalnych westchnieniach. Powtarzam znowu, że p. *Łaski* na polu charakterystycznego komizmu szukać powinien wawrzynów, a fatalną przysługę ci mu wyświadczają, którzyby zwrócić chcieli talent jego w innym kierunku.

Z kobiet występujących należy się w pierwszym rzędzie uznanie pani *Jakubowskiej;* było bowiem w grze tej artystki nietylko zrozumienie typu ale i ta miłość sztuki, która żadnej intencyi autorskiej nie lekceważy, każdy ton najlżejszy widzom prezentuje, niczego nie topi w efekciarskich zakusach, niczego nie poświęca dla uproszczenia sobie zadania. Żal istotnie, że dyrekcya nie umie czy też niechce wyzyskać tego talentu i w trzeciorzędnych rolach ukrywać go lubi. Gra pani *Majdrowiczowej* w roli Anieli była również, mimo nieszczęśliwych warunków artystki, starannie opracowaną i odczutą, a pani *Królikowska* stworzyła doskonały typ matrony polskiej, niepozbawiony dystynkcyi, powagi i serdecznej pogody. Szła przytem sztuka bez piętna ambarasu na czole, a my, którym tak często, zamiast gry wygładzonej, scena niesie w dani próby teatralne, wsłuchiwaliśmy się z rozkoszą w harmonię, zwartość i jednolitośc jubileuszowego popisu. Tam każdy klawisz odpowiadał i pojedyńcze dźwięki w harmonijną składały się całość. Zresztą mają „Śluby panieńskie“ swój czar niespożyty; nam wykarmionym w duszącej atmosferze nowoczesnych utworów, w chorobliwem tchnieniu „Moderny“, potrzeba zaiste od czasu do czasu takiej czystej kąpieli, — tych prostych serc, prostych uczuć i tego słońca Fredrowskiego. Szkoda, że wraz z zaręczynami płaczliwego Albina z rezolutną Klarą i sprytnego Wacława z sentymentalną Anielą teatr nie pozostawił „Kołu śpiewackiemu“ zakończenia wieczoru, bo finałowy polonez z „Pana Tadeusza“ zgrzytnął dysonansem w uczcie artystycznej. Kto układał tego poloneza — nie wiem, ale była to lekcya tańca, — i nic więcej. Nie mówię już o rysunku, nie mówię o wykrzywionych liniach, o nieharmonijnych wężach i kołach, ale nie rozumiem, że odważono się wystąpić z jubileuszowym polonezem, którego uczestnicy nie znali dokładnie figur programowych, mylili się, plątali i błądzili po scenie. Pod koniec powstał istotny chaos, z którego tylko wylatywały jak na urągowisko głośne szepty: Nie tu! Na prawo! Tędy i t. d. Smutne widowisko, smutne pojmowanie sztuki i obowiązków!

Drugi wieczór jubileuszowy wywierał z góry niekorzystne wrażenie dziwaczną mozaiką programu swojego. Zdaje mi się, że powaga uroczystej chwili wymagała, aby którykolwiek z znakomitszych utworów poezyi naszej przesunął się w całości przed oczami widzów, a jeżeli już postanowiono złożyć „bukiet artystyczny“, to należało zaiste piękniejszych dobierać kwiatów. „Dzika różyczka“, scena więzienna z „Mazepy“ i drugi akt „Domu otwartego“ to wcale niezła składanka na codzień, ale przy uczcie jubileuszowej spodziewaliśmy się wytworniejszego „Menu“. Jednoaktówka Blizińskiego to utwór sympatyczny, ciepły i w łzach narodowych skąpany, — lecz chyba sam autor nie miał pretensyi, aby ten drobiazg sceniczny do pereł literatury zaliczyć. Zresztą „Dzika różyczka“ wymaga gry nastrojowej, wymaga starannego układu i zwartego „ensemble'u“. A w niedzielę wszystko się rwało i w milowych pauzach sztuka postępowała dysząc i sapiąc. nie ocalona nawet doskonałą grą p. *Skirmunta* w roli Radomira. Spotęgowała nadto ujemne wrażenie niestosowna obsada roli głównego bohatera. Pan *Knapczyński* jest bez wątpienia bardzo zdolnym, sympatycznym i rutynowanym aktorem, ale talent tego artysty nie posiada ani jednego akcentu tkliwości, ani jednej nuty lirycznej. Ztąd postać Brunona w interpretacyi p. *Knapczyńskiego* tylko w pierwszych momentach sztuki miała życie i szczerość, — natomiast w chwilach ukorzenia przed aureolą męczeństwa, nieskalanym honorem i prostotą Radomirów była zimną i sztuczną. Typ ten, nieprawdopodobny nieco w rysunku autora, stał się nieprawdopodobniejszym jeszcze w grze naszego artysty.

W „scenie więziennej z Mazepy“ wystąpił reżyser teatru krakowskiego p. *Józef Kotarbiński*. O grze tego artysty będę miał niebawem sposobność pomówić obszernie, bo zawita on do nas na czas dłuższy w gościnę i w swoich najznakomitszych ukaże się rolach. Do ról tych nie należy, jak mi się zdaje, Zbigniew Słowackiego. Kotarbiński nie stworzył typu Byronowskiego bohatera, lecz jakąś postać krewką i namiętną. W ruchach szeroki i dziki, w mimice gwałtowny, w słowach jak burza, rwący i szalony, nie uplastycznił on tego głuchego bólu, tego ponurego, zwartego spokoju, tego grobowego sentymentalizmu, który jest charakterystyczną cechą wszystkich typów, zapożyczonych od lordapoety. Był to raczej Otello niż Zbigniew, — ale za to grał *głosem* jak mistrz, jak nie gra żaden może z artystów polskich. Panna *Paszkowska*, porwana dzikością partnera swojego, rozwinęła również za wiele siły gwałtownej, ale w każdem jej spojrzeniu i każdem słowie syczał ból potężny i wielka skarżyła się krzywda.

Po „Mazepie“ wjechał na deski z muzyką, hołupcami, grzmotem i komendą mazurową „Dom otwarty“. Grano go dobrze i żywo, — a mianowicie pp. *Knapczyński, Wostrowski, Skóraczewski i Berski* oraz panie *Vernon i Skóraczewska* zdobywali huczne oklaski, — lecz wolałbym istotnie tych Fikalskich wraz z całą farsą cyrkową nie widzieć na scenie w chwili ćwierćwiekowego jubileuszu sceny narodowej. Jeszcze nam dźwięczały w uszach uroczyste słowa prologów, wygłoszonych z prawdziwym artyzmem przez *Władysława Bełzę* i pannę *Paszkowską*, gdy zgraja płaskich karykatur z łomotem wpadła na scenę. Podobało się to niewątpliwie paradyzowi, ale są momenty, w których na gusta galeryi spekulować nie wolno, są chwile, w których kupletów się nie śpiewa i koziołków nie wywraca.

Miał jednak ten wieczór niedzielny piękną, niezwykłą w teatrze naszym ozdobę. Tam na scenie, pod komendą dzielnego druha Zaremby, stanęła w mundurach amatorska kapela „Sokoła“. Zabrzmiała muzyka narodowa, zagrała

pieśń ojczysta i żywiej zabiły serca publiczności. A w loży parterowej chłopię małe, w strój sokolski przybrane, wyciągało rączęta i młodziutki „Sokół“ wołał: Czołem! Czołem!

W. R.

NA WYŁOMIE.

(Echa jubileuszowe. — Północ.)

Nazywają nas pesymistami. Mówią, że lubujemy się w żałobnych kolorach. Powtarzają aż do znudzenia basem i dyszkantem, że w krytyce naszej nie ma serca, tylko żółć, — a czasem pienią się, sycząc złośliwie, że ściągamy z piedestału powagi poznańskie, — my „młodzi“, — my, z których nikt senatorów naszych o błogosławieństwo na drogę, o „imprimatur“ nie prosił. To też ani jednej chwili nie wątpię, że skoro dziś pośród kadzideł jubileuszowych, których woń jeszcze skręca nam nosy, przyczepimy jedno maleńkie „nie“ do różnych „Ślicznie, wspaniale i poważnie“ odezwie się natychmiast z braminowych świątyń ponure krakanie. Dobrze! wolno wam krakać! Nie sądźcie jednak, że to dziś jeszcze wywiera wrażenie na ogół trzeźwo myślący, — na tych, o których nie można powiedzieć z Słowackim, że „myśl tam nie trwa nawet godziny“.

Srebrny jubileusz sceny narodowej przeminął i zagrało tysiąc surm pochwalnych ku czci i chwale kierującej ręki. O! tak, bądź błogosławiona ty, która w chwili uroczystej zgromadziłaś na estradzie przedstawicieli obywatelstwa, „Spółki“, „Pomocy“ i „Towarzystw“ poznańskich, — i bądź błogosławioną ty, która tylko dwom kategoryom ludzi, dwom korporacyom odmówiłaś prawa głosu: Prasie i artystom! Czytelnicy nasi z prowincyi i zagranicy, dla których obce są kręte ścieżyny labiryntów poznańskich i obcemi takt, poglądy i uczucia kierowników społeczeństwa, gotowi w słowach naszych upatrywać produkt chorobliwie rozgoryczonej imaginacyi, bo trudno zaiste przypuścić, aby od jubileuszowego hołdu wykluczono tych właśnie, którzy są stróżami i pierwszymi kapłanami sceny narodowej: Prasę i artystów! Ale u nas kraj inny, kraj z odrębną logiką, odrębną etyką i odrębną taktyką. Tu miary zwykłego rozsądku i zwykłej sprawiedliwości przykładać nie można, — i dla tego dziwiąc się wierzcie, bo to, co w innych stosunkach zakrawa na bajkę i legendę, u nas jest prawdą bez cienia fałszu, bez cienia przesady.

Mówiłem przed kilku miesiącami, że przyczyna anormalnych stosunków teatralnych tkwi poniekąd w połączeniu dyrekcyi teatru z redakcyą „Dziennika Poznańskiego“. Antypatye pana redaktora pozostają antypatyami pana dyrektora, — więc, gdy nadeszła chwila uroczystego jubileuszu, szepnęła redakcya po cichutku do ucha dyrekcyi, że jest tylko Bóg jeden, a tym jest „Dziennik Poznański“, że poza tem prasa polska nie istnieje, a jeżeli jest, to taka, którą zdeptać trzeba. I któż miał mówić w imieniu prasy? „Kuryer Poznański“ — to wróg redaktora! „Orędownik“ — to wróg! „Postęp“ — to wróg! „Goniec Wielkopolski“ — to wróg! „Przegląd Poznański“ — to wróg! „Wielkopolanin?“ snać zapomniano o takim „drobiazgu“. Więc może sam „Dziennik?“ Nie wypada, — bo „Dziennik“ a teatr to jedno. Niech zatem milczy prasa, — lepiej bowiem, że najgorętszych miłośników teatru, najdzielniejszych obrońców sceny, krzewicieli oświaty, dzwonników świątyni narodowej nie będzie wcale na scenie, niż żeby stanąć tam mieli wrogowie „Dziennika“.

A zatem jest tu logika *sui generis*, jest system taktyczny wyostrzony jak brzytwa. Trudniej już odnaleźć motywa dla banicyi artystów z szeregu mówców jubileuszowych. Oni tak pragnęli tej scenie, która ich żywi i którą oni żywią talentem swoim, złożyć cześć i pokłon, lecz zaryglowano im usta brutalnie. Mówili kupcy i przemysłowcy, — milczeli artyści. Mówił lud zgromadzony w świątyni — milczeli kapłani. Wiem, że tego słowa dyrekcya nienawidzi, bo pogarda kierownika sceny dla każdej istoty, której imię jest „aktor“, przybiera z roku na rok coraz więcej symptomów chorobliwej idiosynkrazyi. Jeżeli prasa w oczach naszego „Ludwiczka XI“ jest fantem bez znaczenia lub robakiem godnym zdeptania, to aktor zwie się marnym kabotynem, a miejsce jego za drzwiami z kapeluszem w ręku. I dla tego nie otrzymał głosu żaden z artystów poznańskich, dla tego p. Siedlecki, który lat kilkanaście służył scenie naszej i z stron dalekich na gody jubileuszowe podążył, zaledwie uzyskał pozwolenie, by gdzieś w kącie przytulić się do filaru i ze łzą w oku spoglądać na deski, którym najlepsze lata życia swojego poświęcił. Nikt nie wymienił nazwiska jego, nikt nie wymówił słowa „artyści“. Wielu z nich posiwiało w pracy dla sceny poznańskiej, a nie pogłaskano ich nawet tak, jak się głaszcze psy wierne i zgrzybiałe na służbie. Czyż dziwić się zatem należy, że na bankiecie jubileuszowym zaledwie jeden aktor stanął do apelu a i on milczał z trwogi przed dyrektorem, — on artysta-kopciuszek, on Paria — kabotyn. Lubi się skarżyć dyrekcya na nizki poziom moralny tego świata kulis, którym kieruje i rządzi, ale jeżeli istotnie sąd ten nie jest mylnym, czyż takie spychanie artystów do sklepów i oficyn, taka pogarda okazywana tym, którzy słowa wieszczów niosą w tłum szeroki, nie strąci ich niżej jeszcze zamiast podnosić i uszlachetniać? Zresztą, cóż nam do ludzi! My kochamy sztukę i artystów i dla nich żądamy szacunku.

Lecz taka była wola pana i wodza, by zaryglować im usta, więc łzę połykali i milczeli z bolesnym protestem w głębinach duszy. Wyręczyli ich inni, a jak wyręczyli — pożal się Boże! Zdawało mi się chwilami, że to nie cześć oddana narodowej scenie, lecz lekcya ćwiczeń stylowych w jakiej sekundzie lub prymie. Jeden p. Dobrowolski znalazł serdeczniejsze akcenty, poza tem była susza, czczość, a nawet jąkanie. Mróz szedł ze sceny i nuda, — a wielka chwila hołdu nie była objawieniem serc przejętych miłością dla ojczystej sztuki, lecz wywierała wrażenie lodowego konwenansu. Zwyczaj tak każe, więc odmówiono pacierze jubileuszowe i koniec.

Charakterystyczniejszą jeszcze była uczta niedzielna, bo w tej uroczystej chwili zbratania, gdy miłość dla sceny narodowej najskrajniejsze łączyła żywioły, uznali niektórzy mówcy za stosowne skarżyć się na malkontentów i opozycyę poznańską. Ciskano w prawo i lewo kamieniami, przedstawiano posłów narodu i komendantów teatralnych jako męczenników, odsądzano wszystkich antagonistów wzajemnej adoracyi od rozumu, a w krytyce, budzącej się w społeczeństwie naszem do życia, upatrywano tylko najniższe instynkty. Pomijam już beztakt wprowadzania polemicznych dźwięków do jubileuszowego krasomówstwa, ale podnoszę tu kategoryczne potępienie krytyki jako charakterystyczną właściwość naszej oligarchii. Wrażliwość na opozycyę graniczy tu nieomal z histeryą. Ci ludzie przywłaszczyli sobie przywilej nietykalności, a ktokolwiek przed tronem ich głowy nie schyla pokornie, otrzymuje pogardliwe miano zarozumialca lub burzyciela. Ukuto sobie mianowicie słowo, zasłaniające stale brak trzeźwych argumentów, a słowo to: *Frazes.* Pozwij ty Koło polskie na spór polityczny, wytocz najpoważniejsze zarzuty i powiedz mu: *„Błądzisz“*, — oni o zakład odpowiedzą: *„Frazes“*. Sięgnij do ran społeczeństwa i przeprowadź najsubtelniejszą analizę, oni mówią: *„Frazes“*! Zdemaskuj brudy publiczne i powiedz najuczciwsze kazanie na temat moralności, — oni krzyczą: *„Frazes“*. Frazes i frazes bez końca. To wygodne słowo. Krótkie, nie wymaga pracy mózgowej a ośmiesza wroga.

To też wojowało niem bractwo wzajemnej adoracyi i grono tapicerów społecznych na uczcie jubileuszowej, a gdy nikt panów „nietykalnych“ do porządku nie powołał, lękając się słusznie, by uroczystości burza nie zmąciła, my dzisiaj przeciw tej nadczułości teatralnych i politycznych królików protestujemy z całą stanowczością. Kto wstępuje na arenę publiczną, — czy to on poseł, czy dyrektor, czy ekspreses komitetów wyborczych, — musi nietylko szanować krytykę, ale jej pożądać, — kto zaś posiada tak czułe nerwy, że najlżejsze „Veto“ przyprawia go o spazmy histeryczne, ten niechaj spać się położy...

* * *

W chwili, gdy kończę ten feljeton, uderza północ, a nigdy jeszcze dzień nowy taką nie zabrzmiał mi skargą. Sto lat niewoli, sto lat sieroctwa i sto lat męczarni płacze w tym jęku i oto głos zegaru rozegrał mi się w jakąś pieśń potężną, która zgina kolana i w proch głowę chyli. Wiek cały!... Rozpaczą dyszy ten wyraz, lecz hańba temu, kto na progu zostawi czyn i nadzieję i bez nich pójdzie w nowe stulecie!

Sulla.

KRONIKA POWSZECHNA.

* **Wiadomości społeczne i polityczne.** Według dotychczasowych obliczeń nie uzyska prawdopodobnie większości w okręgu pszczyńsko-rybnickim p. Radwański, kandydat ludu polskiego. — Z Petersburga donoszą, że niedaleko Lugi wykryto nową sektę, mordującą dzieci na mocy swoich przepisów religijnych. — Dla spraw prasowych ma być przy sądzie ziemiańskim w Lipsku ustanowiony rzeczoznawca w osobie redaktora. Wszystkie gazety niemieckie witają wiadomość tę z radością. — Ks. Borys, bułgarski następca tronu, ma już w przyszłą niedzielę przejść na łono kościoła prawosławnego. — Rosyjski minister finansów Witte zamierza w najbliższym czasie złożyć swój urząd.

* **Teatr i muzyka.** Z powodu choroby panny Paszkowskiej „Fernanda“ ukaże się dopiero w najbliższy czwartek na scenie poznańskiej. Od czwartku za tydzień zaś odegrana zostanie na benefis p. Jakubowskiego „Balladyna“. — Warszawski teatr „Rozmaitości“ wystawi niebawem sztukę Alfreda Konara p. t. „Gąsienice“. — Nowości teatru niemieckiego: Oskara Blumenthala „Hrabina Fryderykowa“, Gustawa Davis czteroaktowa komedya „Katakumby“, dramat l'Arronge'a „Pastor Brose“, Schettlera „Umarły“. — Suppégo pośmiertna opera „Model“ znalazła w wiedeńskim „teatrze Karola“ sukces zupełny. — Na scenie poznańskiej wystąpi niebawem gościnnie pani Stachiewiczowa ze Lwowa i pan Kotarbiński z Krakowa.

Odpowiedzi Redakcyi.

Abonentowi. W sprawie tej udzieli Panu bliższych informacyi każda encyklopedya. My zaiste nie mamy ani czasu ani miejsca, aby w kwestyi takiej udzielać dokładnych i wyczerpujących informacyi. W krótkości zatem tylko podajemy Panu do wiadomości, że kolebką Buddhyzmu są północne Indye. Buddha oznacza tyle co „przebudzony“, t. j. taki, który przez poznanie prawdy i dobre czyny „uwolnił się z więzów istnienia“ i przed zupełnem zejściem z tego świata głosi naukę, wiodącą do „uwolnienia“. Twórcą Buddhyzmu był królewicz Siddhartha z pokolenia Sakja, panującego w 7-mem stuleciu nad równinami Gangesu i krajem na północ od równin tych położonym aż do stóp Himalai. „Sakjamuni“, przydomek Siddharthy oznacza tyle co „pustelnik Sakjów“. Nauka pierwotnego Buddhyzmu streszcza się w trzech prawdach: 1) Boleść jest następstwem istnienia. 2) Boleść powstaje przez istnienie samo, przez pragnienie tego istnienia, przez szukanie zadowolenia w istnieniu. 3) Boleść ustępuje z chwilą, gdy człowiek przestaje szukać zadowolenia w istnieniu a ginie zupełnie, gdy istnieć przestaje. Takie nieistnienie zwie się „Nirwaną“; Nirwana nie jest więc śmiercią faktyczną lecz samozapomnieniem, bezczułością na warunki życia. Drogą, wiodącą ku Nirwanie jest głuszenie najlżejszych namiętności i pragnień. W późniejszych wiekach uległa nauka Buddhyzmu rozlicznym przeobrażeniom.

Mar. Podzielamy zupełnie opinie Pani w tej sprawie; głosu jednak nie zabieramy ze względu na to, że jak nas informują z wiarogodnego źródła, ks. arcybiskup Stablewski uznał podobno za fałszywe damskie pomysły i zapobiegł im skutecznie. Fundusz im. ks. kardynała Ledóchowskiego nie zostanie zatem przeznaczony na wysyłanie młodych księży do Rzymu, „aby tam nabrali poloru i nauki“, lecz złożonym będzie na „Pomoc naukową dla dziewcząt polskich“. Czy słusznem jest przypuszczenie Pani, że w „pomysłach damskich“ odgrywały rolę postronne cele i sympatye, nie wiemy, ale to pewna, że protektorstwo wobec młodych kapłanów stało się modą i manią w „wyższym“ świecie kobiecym i należy „do tonu“. Cześć ks. arcybiskupowi i cześć tym Polkom-patryotkom, które odważnie i energicznie broniły zasady, że pieniądz polski na polskiej ziemi pozostać powinien. Kościół tak znacznemi rozporządza funduszami, że od nas nędzarzy groszy nie potrzebuje.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“. Czcionkami W. Simona w Poznaniu.

Nr. 44. Poznań, Niedziela 3-go listopada 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22. II p. **Administracya:** Piekary nr. 6. **Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Zwycięstwo.

W tej samej chwili, gdy naród polski przestąpił próg drugiego stulecia niewoli, w tej samej chwili, gdy echo wiekowych nędz, bólów i zawodów głośniej niż kiedykolwiek w uszach nam zabrzmiało, popłynął ku nam z górnoszląskiej ziemi dźwięk nadziei i hasło zwycięstwa. A uderzyły one tem silniej w struny sercowe, że w godzinach żałoby zawitały do nas, i tem radośniej, że społeczeństwo z trwogą i nieufnością wyglądało rezultatów walki. Gdy prasa górnoszląska rzuciła rękawicę możnowładzcom niemieckim i mecenas Radwański stanął przeciw bar. Huenemu do wyborczej walki, upatrywano w tej akcyi bojowej raczej środek agitacyjny, raczej energiczną przestrogę, wysłaną pod adresem stronnictwa centrum, niż gwarancyę zwycięstwa. Optymiści nawet kręcili głowami, powtarzając tylko: „Padniemy z honorem. Za rychło jeszcze na stanowczy tryumf."

Ośmieleni dwukrotnem zwycięstwem majora Szmuli i gospodarza Strzody, nie stanęliśmy zrazu w szeregach sceptyków, lecz gdy dzienniki wieść rozniosły po świecie, że wszystkie stronnictwa niemieckie zrzekły się oddzielnej akcyi wyborczej na korzyść kandydata centrum, że, innemi słowy, cały żywioł niemiecki, bez względu na ideowe różnice, zawarł kartel silny dla zduszenia polskiego posła, — wtedy i u nas pojawiły się poważne wątpliwości i zachwiała się wiara w zwycięstwo. Lękaliśmy się nadto, czy ostróżny i chwiejny „Katolik" bytomski nie zatrąbi w ostatniej chwili do odwrotu, a przynajmniej, czy z należytym naciskiem i niedwuznaczną jasnością wytknie czytelnikom swoim — a tych jest 16,000 — cel i konieczność walki. Obawy okazały się płonne. „Katolik" zdecydował się rozpocząć walkę stanowczą i chociaż całe duchowieństwo górnoszląskie stanęło przeciw ludowi polskiemu, chociaż ambona stała się rozsadnikiem krzykliwej agitacyi, chociaż w potężny organ bytomski kler uderzył z całą bezwzględnością brutalną, on powtarzał swoje *„Ceterum censeo"*: Radwański musi być posłem. „Katolik" długo nie ufał własnej potędze i niespożytym siłom odrodzonego ludu, — dziś widząc świetne owoce stanowczości i odwagi swojej, przekonał się niezawodnie, że wraz z ludem polskim jest cyfrą tej miary, której bezkarnie lekceważyć nie wolno, że nie ulegać, lecz dyktować może prawa swoje duchowieństwu, przejętemu zasadami Bismarckowskiej szkoły. Rozumiemy dobrze, jak przykrą być musi ta walka z katolickim klerem dla pisma szczerze, a nawet fanatycznie katolickiego, ale tam, gdzie o przyszłość ludu polskiego toczy się bój zacięty, tam jedną tylko godzi się uznawać zasadę: *Salus populi suprema lex esto.* Jeżeli na drodze staje sługa Chrystusowy i zdusić pragnie rozwój narodowy, to w tej samej chwili przestaje on reprezentować Kościół, a reprezentuje tylko pewien kierunek polityczny i wtedy lud polski nie walczy z księdzem i Kościołem, lecz z polityką przybraną w duchowną sukienkę. Te dwa pojęcia ściśle odgraniczać należy, lubo tak na górnoszlązkim jak na poznańskim gruncie starają się pewne koła usilnie wprowadzić tu zamieszanie pojęć, aby w mętnej wodzie tem łatwiej tłuste ryby łowić.

Czem duchowieństwo niemieckie było w ubiegłych stuleciach dla zachodnich Słowian, o tem świadczy wymownie kronika Helmolda, — czem jest dzisiaj dla Górnego Szląska o tem roczniki „Nowin Raciborskich", „Gazety Opolskiej" i „Katolika", o tem korespondencye do poznańskich czasopism, o tem dzieje ostatnich zapasów wyborczych mówią głosem goryczy i smutku. Księża górnoszląscy w stosunku do ludu polskiego nie różnią się niczem od landratów i urzędników pruskich, a nienawiść ich do wszystkiego, co polskie, szowinizmu, nosi wyrazisty stempel fanatycznego szowinizmu, — tylko wpływy tych „urodzonych przywódców ludu" większe niż potęga biurokracyi niemieckiej i dla tego wróg to niebezpieczniejszy niż którykolwiek z przeciwników naszych. W takich warunkach odrodzenie ludu górnoszląskiego w duchu narodowym wymaga niezwykłej energii i odwagi, a rozwój jego ciężki jest i powolny, bo tamowany przez tych, których ukochał głęboko. Jest jednak w idei narodowej siła tak potężna, że żadne uczucie wobec niej ostać się nie może, i nie ulega już żadnej wątpliwości, że lud górnoszląski otrząśnie się prędzej czy później z tych kleszczów duchownych, w które go ujęto, i pójdzie za głosem ojczyzny. Że w tym procesie emancypacyjnym ucierpi powaga duchowieństwa, tego miarodawcze koła nie pojmują czy też pojąć nie chcą, lubo najelementarniejsza znajomość zasad psychologicznych rezultat ten znajdzie niezawodnie w obliczeniach swoich. Hasło duchowieństwa: „Przeciw ludowi!" zrodzić musi niewątpliwie hasło inne: „Przeciw duchowieństwu!" a nieufność ludu wyrosła na politycznych zagonach gotowa iść dalej i do bram Kościoła zapukać. Sympatye i antypatye ludzkie nie płyną w ciasnem, ściśle odgraniczonem korycie, lecz rozlewają się szeroko i ogarniają wszystkie instynkty i myśli ludzkie.

Rzecz inna, czy rozwój idei narodowej dziś już tak silnym jest na Górnym Szląsku, że samoistnie, bez pomocniczych czynników lud na pole walki przeciw długoletnim opiekunom i nauczycielom poprowadzić może. Łudzić się nie wolno. Jeżeli istotnie zwyciężyliśmy nad urzędowym kandydatem niemieckiego centrum, jeżeli zwycięstwo nasze prezentuje 12000 głosów przeciw 5000, to obok rozbudzenia narodowego, obok przekonania, że obowiązkiem Polaków Polaka obierać, obok pragnienia, by poseł ludu polskiego mówił po polsku i praw języka narodowego bronił energicznie, odegrały tu rolę poważne czynniki społeczne. Tu nie tylko o język, o polskość, lecz o chleb toczyła się walka, bo przeciw mecenasowi Radwańskiemu stanął baron Huene, reprezentant wielkiej własności ziemskiej, stronnik przeróżnych ciężarów podatkowych, przeciwnik ustawy o odszkodowaniu strat wyrządzonych przez zwierzynę. Wyborca górnoszląski widział w baronie prócz Niemca, czyhającego na język jego, patrycyusza sięgającego do sakiewki ludu i oto! do kwestyi narodowej przyłączyła się „kwestya żołądkowa". Centrum górnoszląskie stanowi właśnie arystokratyczny odłam wielkiego stronnictwa i różni się zasadniczo od tych żywiołów, których szeregom partyi dostarczają południowe Niemcy. Wszystkie elementy „centrowe" łączy wspólna idea katolicka, lecz rozdziela je mnóstwo diametralnie przeciwnych interesów ekonomicznych, które prędzej czy później sprowadzić muszą poważne starcie i rozbicie partyi. Geniusz Windthorsta i walka kulturna stanowiły kit pożądany, spajający w jedną całość rozbieżne kierunki, — dziś jednak słychać coraz częściej trzask głuchy i gmach potężny grozi rozpadnięciem.

Odłam górnoszląski stronnictwa centrum jest dziwnem istotnie zjawiskiem w dziejach parlamentaryzmu niemieckiego, bo reprezentant ten okręgów *demokratycznych* ukazuje wyraźnie fizyognomią *magnacką*. Sprzeczność ta opierać się może jedynie na fundamencie małego rozbudzenia ludu i w konsekwencyi

na ślepem zaufaniu do przywódców politycznych, narzucających tłumom według własnego widzimisię kandydatów sejmowych i parlamentarnych; z tą samą chwilą jednak, gdy lud się budzi do myślącego życia i z posłusznego dziecka zmienia się w dojrzałego obywatela, świadomego praw swoich i warunków ekonomicznego rozwoju, znika z widowni polityczna anomalia *arystokratycznego posła z demokratycznych okręgów*. Rozbudzenie to na Górnym Szląsku jest dzisiaj faktem dokonanym i walka narodowa staje się tam równocześnie walką społeczną. Polacy to lud, Niemcy to szlachta, inteligencya i kapitał, — po jednej stronie chłop i robotnik, po drugiej wielka własność i burżuazya. Przeciwieństwa to zatem krańcowe, a sprawa narodowa zyskuje w kwestyi społecznej poważnego sprzymierzeńca niosącego w szeregi nasze te iskry zuchwałej i nieugiętej energii, którą w wyższym stopniu niż uczucie narodowe krzesa pożądanie chleba.

Odgrażają się dzienniki niemieckie, że mecenasa Radwańskiego centrum parlamentu do kadrów swoich nie przyjmie lubo obaj zapaśnicy walczyli pod hasłem centrowem. Jeżeli wróżby te nie są oparte na czczych przypuszczeniach, to zwycięzki poseł polski stanie się zawiązkiem stronnictwa przyszłości, składającego się z samych reprezentantów ludu górnoszląskiego. Wobec poważnych różnic narodowych i społeczno-ekonomicznych nie ulega żadnej wątpliwości, że stronnictwo to nie dziś to jutro powstanie na rozbudzonej do nowego życia ziemi górnoszląskiej.



Przegląd prasy polskiej.

W artukule p. t. „Walka z gazetami polskiemi“ pisze „G a z e t a O l s z t y ń s k a“:

„Dopóki walka ta toczy się tylko po gazetach, dopóki z gazetami polskiemi walczy się tylko w pismach niemieckich w sposób godziwy lub niegodziwy, dopóty walka ta nie porusza tyle umysłów i uważaną po części być może jako zwyczajny spór narodowościowy. Walka ta wtedy ze sprawami katolickiemi nie ma nic wspólnego, ani sprawie katolickiej nie szkodzi, bo co się tyczy sprawy katolickiej, tak polscy jak niemieccy katolicy bronią jej jednakowo, przestrzegając przytem i proniąc swych odrębnych interesów narodowościowych.

W ostatnim czasie przeniosła się jednakże walka z gazetami polskimi, zwłaszcza u nas i na Szląsku, nawet do Kościoła, na ambonę. Przed kilku miesiącami dopiero doniesiono nam o świeżem wystąpieniu przeciw naszej „Gazecie Olsztyńskiej“ przy okazyi odpustu w pewnem miasteczku na Mazurach. Na Szlązku zaś obecnie z powodu odbywających się tam wyborów w kilku kościołach wystąpili duchowni z ambon nawet przeciw tak zasłużonej gazecie ludowej, jaką jest „Katolik“. Gazety szczerze katolickie, jakiemi są „Gazeta Opolska“ i „Nowiny Raciborskie“, ten sam los spotkał. Pisma te z ambon nazwane zostały rewolucyjnemi tylko za to, że przy wyborach popierały kandydatów takich, którzy po polsku umieją.

Ta najnowsza walka z gazetami polskiemi jest o tyle gorszą od innych, że ani ludu ani gazet polskich n i e o d s t r a s z y od bronienia swych praw i narodowości, a sprawie katolickiej wielce szkodzić może. Występowanie przeciw gazetom polskim z ambon mogłoby być dopiero wtenczas usprawiedliwione, gdyby pisma te głosiły jakieś błędne nauki lub zdania sprzeciwiające się zasadom Kościoła katolickiego. Zwalczać zaś gazety polskie z ambon za to, że narodowości polskiej bronią, jest ani nie na miejscu, ani z duchem Kościoła katolickiego wcale się nie zgadzające, bo Kościół nigdy na szkodę lub korzyść żadnej narodowości nie pracował, a najmniej jest to rzeczą sług jego. Jeżeli się to zaś gdzie dzieje, to dzieje się właśnie tak jak być nie powinno pod żadnym warunkiem. Lud też nasz powinien wiedzieć, co o tem sądzić, aby w danym razie gazety polskiej z ręki wytrącić sobie nie dać.

Występowanie przeciw gazetom polskim jest polityką i to polityką godzącą w narodowość polską, a pracującą na korzyść narodowości niemieckiej. Łatwo zatem odróżnić sprawy religijne, sprawy Kościoła katolickiego, których pierwszym stróżem jest kapłan, od spraw i interesów narodowości polskiej, które należą pod straż całego ludu polskiego“.

—

„K a t o l i k“ bytomski (nr. 128) w takich słowach święci zwycięztwo ludu polskiego przy wyborach w pszczyńsko-rybnickim okręgu:

„Patrzcie ludzie, co możecie, gdy sobie ręce podacie i chcecie o sobie radzić! Niech to będzie zachętą dla całego ludu polskiego, ażeby zawsze i przy wszystkiem był zgodny, ażeby był wytrwały i stały w dobrych przedsięwzięciach. Dzisiaj jest radość wielka między całym ludem na Górnym Szląsku. Wszyscy podziwiają dzielność ludu polskiego w Pszczyńsko-Rybnickiem. A przeciwnicy ludu, Niemcy, muszą uznać, że jest siła żywotna w tym ludzie, że jest w nim poczucie obywatelskie i polskie. Każdy uczciwy Niemiec uszanuje ten czyn ludu polskiego i nabędzie szacunku dla niego. O nieuczciwych nam nie chodzi.

Przez to zwycięztwo udowodnił lud polski, że swego prawa do życia nie odda za nic, że chce żyć, jako lud polski, że się nie da zniemczyć ani gwałtownym, ani łagodnym sposobem, że będzie walczył sposobem legalnym i prawnym o swoje prawa“.

—

Z powodu projektu pruskiego ministra handlu, dotyczącego organizacyi rzemiosł i stanowiska posłów polskich do naszych kół rzemieślniczych wypowiada „O r ę d o w n i k“ (nr. 248) zdanie następujące:

„Dzien. Pozn.“ pozwolił sobie znowu użyć znanego frazesu: że „posłowie nasi n a r z e k a j ą, iż p o z o s t a j ą b e z i n f o r m a c y i z kół rzemieślniczych“.

Kto tu z kogo ma się śmiać: czy posłowie z „Dziennika Pozn.“, czy rzemieślnicy z posłów polskich?

Kto kiedy słyszał posłów naszych narzekających na to — n a s e r y o? Iluż to jest między naszymi posłami takich, co są faktycznie zdolni rozmówić się z światlejszym rzemieślnikiem o sprawach rzemieślniczych? Kiedy widziano jakiego posła na zebraniu Młodych Przemysłowców, gdy tam była mowa o sprawach rzemieślniczych? Kiedy słyszano jakiego posła na Zjazdach Przemysłowych, żeby w dyskusyi wziął żywszy udział i swe zdanie ugruntował? Jeżeli się zjawi na Zjeździe, to na to, by czekać na sali, aż go na estradę poproszą.

„Dziennik“ pisze, że bodaj dopiero 3 Towarzystwa sprawę organizacyi rzemiosł poruszyły. Nam wiadomo nawet tylko o jednem, tj. o Tow. Młodych Przemysłowców. Niech „Dziennik“ nie spodziewa się, żeby tych Towarzystw było wiele. Rzecz jasna: referowanie o projekcie ministra handlu nie jest dla każdego przemysłowca? A zkąd ma przemysłowiec nawet inteligentny poszukać materyał do referatu? Gdy go poszuka, zkąd ma wziąć czas, żeby go z rozwagą przeczytać?

Ale kto z łatwością może przyjść do takiego materyału, kto ma czas do tego? — O t o p o s e ł p o l s k i! — Kto materyałów tych nie czyta? — oto p o s e ł p o l s k i!

Nie rzemieślnik powinien dawać posłowi pierwsze informacye, ale poseł rzemieślnikowi — naturalnie musiałby poseł przysieść fałdów i czytać skrypta. Lżej jest nie czytać, a za to „narzekać“, że rzemieślnicy nie dają informacyi.

Niech „Dziennik Pozn.“ nie powtarza więcej tych frazesów o „narzekaniu“ posłów, bo to w dość szerokich kołach rzemieślniczych tylko śmiech budzi. Wiekopomną zasługą ruchu ludowego z partyą dworską pozostanie to: że rozmaite gatunki uświęconych frazesów zostały tak gruntownie wymłócone, iż pozostało z nich to, co w nich było, to jest plewa, którą ta walka na cztery świata strony rozdmuchała. Możecie panowie w swych gazetach i poza gazetami

---

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.

(C i ą g d a l s z y).

To określenie p. Mojżesza Salzstangla, lubo nie dalekie od prawdy, nie okazało się jednak dostatecznem dla pana Antoniego. Zaczął tu i owdzie ciągnąć za język swoich lokatorów, wysłał na zwiady panią Antoniową, konferował z p. Józefem, co przed trzema laty o mało nie został ojcem miasta, i tak zwolna, zwolna przyszedł do posiadania potrzebnych wiadomości, a że miał głowę na karku i spryt w zapasach życia wyrobiony, postanowił sobie zapalić Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek, to jest postarać się o dobrą opinią i tu i tam, bo kto wie, co z tego wypaść może i czyjemi głosami wejść będzie można do Rady.

Rozpoczął więc od zaprenumerowania „Czasu“ i „Reformy“; za oba pisma złożył osobiście całoroczną prenumeratę do dnia 1 maja 1888 r. W administracyi obu pism chwalił ich przekonania, zapewniał, że do tej chwili prenumerował w agencyach, że od lat trzydziestu nigdyby nie zasnął, gdyby „Czasu“ wprzód nie przeczytał, że „N. Reforma“ zawsze go do dobrego humoru doprowadzała, — słowem jak mógł i jak umiał starał się dobrze przedstawić tam, gdzie za 10 centów dziennie można nabyć rozumu i wiele innych pożytecznych wiadomości, nie wyjmując „zdania Turka“ o pierniku hygienicznym i cennych wskazówek prof. von Orlice o grze loteryjnej. Nazwisko Gandziarskiego pomiędzy członkami obu administracyi zyskało prawo obywatelstwa i zapisano je sobie w pamięci ze względu na dwa głosy mniejszej realności, bo kamienica na ulicy Szewskiej zahipotekowaną była na imię pani Antoniowej.

Uczyniwszy te przedwstępne kroki, pan Antoni postanowił przedewszystkiem zająć pozycyą w obozie konserwatywnym. Obóz ten, jak wiadomo, chlubi się z przywiązania do wiary ojców (co nie obowiązuje niektórych jego przywódców, którzy w nic nie wierzą), a kapłan ma w tym obozie powagę i znaczenie (n. b. jeżeli jest mu potrzebny). Pan Antoni myślał przeto i myślał jakby zapukać do serc pobożnych, nie narzucając się swoją osobą, a tylko czynami dając wyraz swej bogobojności.

Bardzo dobrą sposobność nastręczyły nabożeństwa majowe. Pan Antoni regularnie o godz. 7 wieczorem sunął do kościoła Panny Maryi i wchodził wejściem do kościoła św. Barbary, rozglądając się uważnie w koło, czy go jaki reformista nie zoczy. Z chwilą wejścia do kościoła był już pewny siebie: tu go wszyscy widzieć mogli i powinni. Kto tu przyszedł jest pobożnym i nabożeństwem jego tylko zbudować się może. Klękał więc na ziemi, rozłożywszy poprzednio chustkę fularową i choć kolana bolały, a pot z czoła kapał, nie ustawał w żarliwości, bił się co chwila w piersi, przerzucał kartki „Miesiąca Maja“ i dobywał takiego głosu, że klęczący opodal z przestrachem i podziwieniem na niego patrzali, nie wiedząc czego mu zazdrościć: czy dwóch kamienic i gruntu nad Rudawą, czy tak potężnego organu, szturmem zdobywającego niebiosa. Służba kościelna z uszanowaniem zbliżała się do niego, a on nie przerywając śpiewu, wyjmował z kieszonki nową 20-centówkę i rzucał do skarbony. Już nabożeństwo skończone, kościelni świece zaczynają gasić, a pan Antoni jeszcze zatopiony w modlitwie. Nareszcie schylał się, całował marmurową posadzkę kościoła i wychodził ze świątyni, obdarzając biednych i biedne czworakami. Manipulacyą tę odbywał powoli, aż księża wychodząc zbudowali się jego filantropijnemi uczynkami. Wówczas ostrożnie rzucał okiem przed kościół, a przekonawszy się, że żaden liberał nie szpieguje, wypadał czemprędzej na trotuar. Raz przypomniał sobie po latach trzydziestu, bo pamięć ma bardzo słabą, że właśnie w dzień św. Filipa Nereusza, zszedł z tego świata, pojednawszy się z Bogiem, ojciec jego, jak wiadomo właściciel dóbr na Podolu. Miłość synowska, choć późno, odezwała się, a troska o spokój duszy nieboszczyka kazała udać się do jednego z duchownych

robić, co chcecie, dla ratowania powagi frazesów i haseł, które wam służą, zawsze się teraz znajdzie w społeczeństwie spory zastęp ludzi myślących który te hasła serdecznie wyśmieje i ramionami wzdrygnie. Walka, o której wyżej mowa, osadziła mnóstwo dotąd ukoronowanych frazesów i haseł — na etacie wymarcia".

—

„Przegląd Wszechpolski" zamieścił w Nr. 19 ciekawą ocenę prasy warszawskiej. Z artykułu tego cytujemy ustępy następujące:

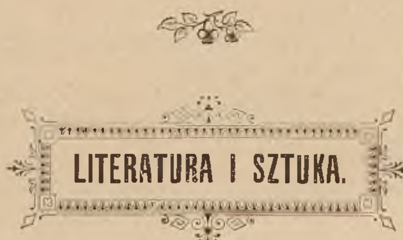
Dziennikarzy warszawskich można, ogólnie biorąc, podzielić na cztery kategorye. Pierwsza — to starzy matadorowie dziennikarstwa, którzy wystąpili w szranki w czasach, kiedy prasa uważała się z dużą słusznością za przedstawicielstwo narodowe. Ludzie ci przywykli wysoko nosić sztandar swego powołania, a znaleźć między nimi można nieposzlakowane charaktery, wysokie talenty publicystyczne i duże wykształcenie. Druga — to ludzie, którzy się wzięli do pióra w okresie przełomu umysłowego po powstaniu z wiarą, iż są powołani do przerobienia społeczeństwa. Stanęli oni odrazu w silnej opozycyi przeciw starej, konserwatywnej prasie, później jedni zmienili przekonania, połączyli się ze starymi — którzy ze swej strony pod wpływem krytyki w znacznej mierze przystosowali się do ducha czasu — inni zaś złagodnieli w opozycyi skutkiem doświadczenia, zrozumienia wielu rzeczy, a czasami i zobojętnienia. Ta kategorya, ogółem wzięta, to ludzie też przeważnie zdolni, czasami bardzo wybitni, zwłaszcza polemiści; posiadają oni na ogół często duże, i — jak na dziennikarzy, gruntowne wykształcenie, innego jednak rodzaju, niż starzy, więcej współczesne, wreszcie odznaczają się przeważnie uczciwością w zawodzie, do którego popchnęło ich w swoim czasie powołanie i chęć służenia społeczeństwu. Trzecia kategorya — to ludzie z talentem literackim, którzy zaczęli karyerę od wydania powieści, tomu nowel lub poezyi, a później wciągnęli się powoli, dla kawałka chleba, w robotę dziennikarską, częstokroć nie odpowiadającą ani ich usposobieniu, ani zdolnościom. Między nimi mamy ludzi z najrozmaitszymi stopniami i rodzajami wykształcenia, zarówno jak i charaktery rozmaitej nader wartości. Talent nie jest dostateczną ochroną od upadku moralnego, i ludzie, którzy wzięli się do pewnej pracy bez powołania, jedynie dla chleba, muszą często pod względem moralnym wiele do życzenia pozostawiać. Czwarta wreszcie — coraz liczniejsza kategorya — to najświeższa formacya dziennikarzy współczesnych z rodzaju, rojącego się na braku każdego wielkiego miasta — ludzie, którzy wzięli się do dziennikarstwa, by zużytkować swój spryt, połączony przeważnie z brakiem skrupułów moralnych, ludzie, którzy postanowili iść na przebój przez życie, oglądając się tylko dla ocenienia, co więcej popłaca. Ten rodzaj ludzi zaczyna mieć coraz więcej w prasie znaczenia, zajmuje coraz bardziej wpływowe stanowisko, obniżając etykę dziennikarską i prowadząc do przekształcenia stosunków prasowych na jak najbardziej handlowe, przez schlebianie najpospolitszym gustom, wyzyskiwanie słabostek i głupoty czytelników i tysiące sztuczek konkurencyjnych. Wydawcy tego rodzaju ludzi poszukują, bo w nich widzą przyszłość „interesu".

...Pod względem literackim prasa warszawska przedstawia o wiele większą wartość od prasy innych zaborów. Język, aczkolwiek szwankujący w pismach brukowych, przerabiających szybko artykuły polityczne z prasy zagranicznej, jest naogół dobry, a w niektórych pismach wzorowy, w czem niestety, pisma te znajdują naśladownictwa ze strony prasy innych dzielnic. Większe pisma posiadają dobre siły publicystyczne, i podają czytelnikom artykuły oryginalne, często dużej wartości. Wreszcie krytyka literacka, jeżeli istnieje w pismach codziennych polskich, to tylko w warszawskich.

...Wzajemne stosunki wśród dziennikarstwa są tu o wiele znośniejsze, niż gdzieindziej, ludzie się tu poczuwają do pewnej solidarności koleżeńskiej i obywatelskiej, aczkolwiek pisma, zwłaszcza brukowe, silnie ze sobą współzawodniczą, używają w walce środków, wyszydzanych często przez resztę prasy.

Tak, prasa warszawska jest stanowczo najlepszą częścią prasy polskiej, jest nią pomimo pływu cenzury. Należy jednak stwierdzić że stopniowo ona upada. Rząd coraz więcej ją krępuje, gdy życie społeczne rozwija się i wymagania jego rosną skutkiem czego prasa coraz mniej odpowiada wymaganiom społeczeństwa, coraz mniej jest przedstawicielka opinii. Stanowisko dziennikarza coraz mniej ma znaczenia, co powoduje, że ludzie lepsi rzadko dziś wchodzą do pism, które coraz bardziej zapełnia czereda, słaba umysłowo i moralnie. Ci ludzie, nie będąc w stanie, skutkiem niskiej wartości własnej i trudnych warunków zewnętrznych, zaspokoić lepszych upodobań, schlebiają najniższym gustom, zapełniają szpalty pism błahostkami, wiadomostkami bez ogólnego znaczenia, skutkiem czego uwaga ogółu odciągana jest od najodpowaźniejszych zagadnień.

—ski.



Do Jana Kasprowicza.

Słuchałem pieśni — nie tych, co w spokoju
Do snu kołyszą świat cały do koła,
Lecz pieśni, ktore pobudką do boju
Jak burza świszczą skrzydły archanioła,
Co opiewają, jak w pocie i znoju
Dla obcych kipią biedne ludzkie czoła,
I wśród ciemności nad jarzmem człowieczem
Błyszczą puklerzem i ognistym mieczem.

Słuchałem pieśni. — nie tych, co słuch pieszczą
Różą, słowikiem, gwiazd cichem marzeniem,
Nie tych, co złudą jaśniejące wieszczą
Apokalipsy zdają się być pieniem, —
Lecz tych, co wichrem huczą i szeleszczą
Nad starych grobów i ruin sklepieniem,
I które skute z życiem, z walką, z bytem,
Echem ich ciągłem, bólem, jękiem, zgrzytem.

Słyszycie? Echa to krwawych zapasów,
Co na arenie igrzysk niegdyś wrzały,
Gdzie wśród przyklasków i dzikich hałasów
Gladjator brata zabijał zbestwiały.
I stanął dumnie pośród tych pariasów
Hardy niewolnik w stal zakuty cały,
By wieść jak Spartak ich z lochów na słońce,
A oni miecze wznieśli na obrońcę.

W nich „dusza płacze", — a wiedzcie — to znaczy
Być swoich własnych cierpień sędzią — katem,
Być serc olbrzymem, a ginąć w rozpaczy,
Rwać serce własne i drgającym szmatem
Ciskać wśród ludzi, a nie mieć słuchaczy.
Znaczy to zwiędnieć woniejącym kwiatem,
Który, gdy w słońca świecie zadrży rosą,
Zdepcą nieczuli, lub na targ poniosą.

Czy Prometeja serce silniej drgało,
Kiedy przykuty do skalistej kępy,
Pod obrożami prężąc swoje ciało,
Nadlatujące w górze ujrzał sępy?
O serce wielkie, coś ból taki znało,
Na cóż zrastają krwawe znów się strzępy?
Na to, by wiecznie ptactwa chmura szara
Niem się karmiła, — i za cóż ta kara?

I ty jęczałeś za żelazną kratą,
Płacząc łzy czyste, co stały się ciałem,
Kiedyś potesknił za braćmi, za chatą,
A oni potem nienawiści kałem
Rzucili na cię niewdzięcznych zapłatą.
I grad kamienny, piętrzący się wałem,
Rósł poza tobą, kiedyś ztąd uchodził,
Tuląc do piersi to, co ból ci zrodził.

O dźwięcz nam, pieśni, ty, z bolu zrodzona,
Której Goplana w noce ciche, letnie
Dawała posłuch, tuląc cię do łona,

---

przy kościele Najśw. Panny Maryi zostających, z prośbą o odprawienie nabożeństwa żałobnego za duszę „niezapomnianego rodzica". Przy sposobności przyszła mu na pamięć i ciotka, wdowa po referendarzu stanu Królestwa Polskiego, która jakoś również w maju pożegnała się z tym światem, — przeto więc od księdza z kościoła Panny Maryi, podążył do OO. Jezuitów i prosił pokrnie ojca Kornela o odprawienie mszy św. za duszę zacnej swojej opiekunki. Przez pamięć dla jej cnót i pobożności wpisał się pan Antoni do bractwa Serca Jezusowego, prosząc, aby w intencyach na czerwiec został zapisany do liczby tych, za których wniesione będą modły, aby pokusy zmysłowe nie trapiły ich do końca ziemskiego żywota. Serdeczność i prostota, z jaką pan Antoni załatwiał religijne potrzeby swego serca, skłoniła Ojca Kornela do pogawędki z pobożnym obywatelem, z której nabył przekonania, że właściciel dwóch kamienic i gruntu nad Rudawą oddaje życie swoje wyłącznie modlitwie, rodzinie i uczynkom miłosiernym, a tylko formalności prawne, przeszkadzające mu w dowolnem na razie rozporządzaniu majątkiem, wstrzymują go od pielgrzymki do grobu św. Piotra, przy którym pragnie złożyć poważniejszą sumę na cele misyi afrykańskiej. Przy pożegnaniu prosił uprzejmie pan Antoni O. Kornela o wstawienie się do ojca Stanisława, znanego spowiednika, aby pozwolił mu złożyć przed sobą spowiedź z całego życia, do jakiej potrzebuje paru miesięcy przygotowania.

Mówią, że dobre i pobożne uczynki mogą się stać potrzebą życia; mówią, że są święte niewiasty, co z modlitwą na ustach do Boga, łączą osładzanie doli nieszczęśliwym i znajdują w tem taką rozkosz, jakby dobrze samym sobie czyniły; mówią, że są ludzie, którzy raz wszedłszy na drogę miłosierdzia, kroczą po nich z uszczerbkiem własnych potrzeb, z prawdziwem zaparciem się i że to staje się prawie ich nałogiem, drugą naturą. Że tak jest, wątpić nie należy, — pan Antoni jednak nie mógłby na sobie stwierdzić prawdy słów powyższych. Wróciwszy do domu dowiedział się od żony, że Józka, niańka przy jego najmłodszem dziecku, obawiając się, że mały Henryś wyleci z łóżeczka, rzuciła trzymaną w ręku karafkę i pochwyciła malca w chwili niebezpieczeństwa. Pan Antoni po stosownej przemowie do Józki, zapisał w notatniku karafkę do wytrącenia jej przy porachunku. Wypadkiem tym czuł się zdenerwowany i na tę nieszczęsną chwilę natrafił stróż Jędrzej z prośbą o parę reńskich zaliczki, gdyż kobiecina powiła mu synka i jest niebezpiecznie chora. Tego było panu Antoniemu za wiele. Nietylko nie wspomógł Jędrzeja, ale zapowiedział mu z góry, że dwoje dzieci dla stróża wystarcza i że, gdyby poważył się mieć jeszcze trzecie, to go wyrzuci jak psa, bo stróż jest dla kamienicy, a nie dla romansów, bo stróżka powinna obsługiwać właściciela i lokatorów, a nie chorować z własnej winy, bo mnożenie proletaryatu jest zbrodnią, a on, pan Antoni, przykładać ręki do zbrodni nie może. Jędrzej wyszedł ze łzami w oczach, myślał długo nad zbrodnią „proletatu", jaką popełnił i poszedł się użalić do kuma Jana, gdzie zastał oprócz jego baby, pana majstra szewskiego z suteren na Pędzichowie i krupiarkę Jacentową. Ci nie potrafili mu rozwiązać zagadki o „proletacie", ale zebrali między sobą i od Mańki z przeciwka 1 złr. 68 ct. i pożyczyli Jędrzejowi na słowo.

II.

Nazajutrz rano pan Antoni udał się do pana Filipa, o którym była wzmianka na początku niniejszego opowiadania. Pan Filip jest to ciekawa ze wszech miar osobistość. Poświęcał się niegdyś trochę literaturze, trochę naukom przyrodzonym i medycynie, wygrał kilkanaście tysięcy na loteryi saskiej, potem studyował nieco muzykę, był zawołanym fortenzerem, miał wielkie szczęście do kobiet, zwłaszcza do pani mecenasowej Replickiej, handlował przez czas niejaki końmi i winem szampańskiem, — słowem pracował gdzie mógł i jak mógł, aby tylko to marne życie przepędzić. Ta różnostronność zajęć dozwoliła panu Filipowi rywalizować nawet z profesorką Bajczarską na polu znajomości osób, stosunków i stosuneczków naszego miasta. Jeżeli się te dwie

Do pieśni sielskiej strojąc twoje fletnie,...
I ty, co w celi więźnia, zda się, kona
Jak kwiecie wątłe, kiedy śron je zetnie —
I wy, co zbrojne wrogim walki gniewem
Nowego jutra macie być posiewem.

I wy wyrosłe „na chłopskim zagonie“,
Smutne gawędy w serdecznej prostocie,
Szorstkie i twarde jak te chłopskie dłonie
W bruzdy zorane w pracy ciężkiej pocie,
Dźwięczcie! a dźwięk wasz na ostatnie błonie
Niechaj rozpływa, budząc echa krocie
W sercach tych ludzi, co w szczęśliwszej doli
Nie zapytają innych, gdzie ich boli.

Alastor.



Sylwetki poetów czeskich.

III.

J. S. Machar.

Do niedawna królem poezyi czeskiej był Jarosław Vrchlicky, vice-królem Swiętopełk Czech. Obaj wykwintni pod względem formy, obaj romantycy, różniący się tylko odcieniami. Pierwszy brał do swych pieśni tematy ogólne, częstokroć filozoficzne, najmniej mu się udające, — drugi zrywał kwiecie z niwy swojskiej i wił z niego wianki. Ci dwaj dzielili niepodzielnie władzę. Mniej lub więcej wyćwiczone wojsko szło za nimi, uważając ich za wodzów. Ale nietylko wojsko lecz i publiczność w Vrchlickym i Czechu widziała skończonych strategików. Tymczasem na zachodzie odbywały się ulepszenia na polu poezyi. Starsza generacya nie wiele o tem wiedziała, śród młodych czechów jednak powoli wyrabiał się żywioł krytyczny i w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia widzimy już walkę ze starszyzną. Wtedy rzucił też Machar pierwszą wiązankę pieśni, pod tyt. „Confiteor“.

„Cóż to za jeden z wichrów mojej młodszej braci
„Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
„Smie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?
„Ryknął i ku Macharowi w kształcie nożyc ciągnął.

Był to sforny szereg poetów, którzy uczuli się zachwiani śmiałem wystąpieniem młodzieńca. A jednak Machar nie ulakł się i pole walki bez zaprzeczenia należy do niego. Machar jest dziś uważany za przywódzcę młodego pokolenia, czeskiej „*moderny*.“ Nie jest on przecież krańcowym przedstawicielem najnowszych kierunków poezyi. Jeśli Vrchlicky jest romantykiem-kosmopolitą, a Czech romantykiem - patryotą, — Machara można uznać, jak trafnie określił go jeden z krytyków czeskich, romantykiem-psychologiem. Uczuciem romantyk, głową, umysłem psycholog spostrzegawczy i wzbogacony płodami nowoczesnej nauki. — Sam o swej muzie mówi, jako o dziecku *Musset'owskiem.* O ile mu jednak ustępuje pod względem formy, o tyle przewyższa go rozległością horyzontu. Za rozumny, żeby nie widział, za uczuciowy, aby nie przebolał błędów jakiemi ziemia jego czeska jest obdarzoną! To też w pierwszych zaraz książkach: „Confiteor“, „Bez nazwy“ i Trzecia księga liryki,“ — spotykamy się z krytyką nowoczesnego życia czechów, a oprócz tego z erotyką.

I w pierwszej i w drugiej Machar występuje z maską na twarzy, z maską ironii i czasami cynizmu. Jeśli ironia więcej spokojna, więcej bolesna dla samego autora, niż zjadliwa, odpowiednią jest dla Machara, aby nadto nie okazywał siebie i ran, krwawiących mu serce, ran, które tak mało znalazły współczucia śród starszych, — to przebłyski cynizmu nie wydają mi się być naturalnemi.

W następnych też pieśniach Machar zarzucił go prawie zupełnie.

W wzmiankowanych wyżej księgach Machar nie żałuje pióra, aby niem opisać wady narodu. Czy to kiedy wyśmiewa patryotyzm, ukazujący się zazwyczaj na języku, mówiąc, że choć rzeczywiście narodową jest owa komedya i choć umiemy ją grać z natchnieniem, ale obczyzna nie przestaje się śmiać, bo „ojczyzna nasza jest Galileą, która nie ma proroków“; czy wówczas, gdy maluje zwykłego „bourgeois“ lub życie miejskie, bądź, gdy w wierszu do Machy pełen miarkowanego bolu odzywa się do krytyki i do stojącej poza nią publiczności, że „to błoto starła dziś z martwego twego czoła, by żywych wieszczów skronie mogła zbrukać niem“ — wszędzie widzimy prawdę i rzetelne cierpienie młodego piewcy, ukryte po za obłokiem bądź melancholii, bądź ironii. Spokojna melancholia, ożywiona czasem lekką ironią, najodpowiedniejszą jest dla pióra poety czeskiego.

Lecz nie tylko rzucenie kija w gniazdo patryotycznych os syczy w pierwszych książkach poety; prawdziwa erotyka, nie budująca jak Czesława Jankowskiego, choć nie mniej wykwintna, zajmuje w nich sporo miejsca. Musset i Heine nie powstydziliby się tego zbiorku.

Prócz tego Machar uderzył kilkakrotnie w tematy ogólniejsze, że wspomnę o „Posledni cescie“ („ostatniej drodze“,) w której biedny rzemieślnik, wiedząc, że za dni parę musi zakończyć żywot, idzie do szpitala sprzedać za guldena i 5 centów swego przyszłego trupa, aby tylko rodzinie przynieść trochę strawy. Najmłodsza jego dziecina, z cukierkiem w ręku, kończy ten wiersz, mówiąc: „to dał mi tatunio, gdy przyszedł dziś do domu“. Biedne dziecię nie wie, że zjada spieniężonego ojcowskiego trupa.

Zaprawdę, gdy przeczyta się te 3 zbiorki, zrozumieć nie podobno, dla czego tkliwą duszę poety, pełną miłości dla kraju i cierpiących, spotkały gromy ze wszystkich gardzieli prasowych.

Wkrótce potem Machar wydał cykl sonetów wiosennych. letnich, jesiennych i zimowych. Z wyjątkiem jednego z tych cyklów, słabszego od innych pod względem formy i treści, — wszystkie tego samego zdradzają Machara.

Zwięźle, elegancko, za pomocą trafnych porównań i umiejętnego odtwarzania uczuć, kreśli poeta najdelikatniejsze odcienia usposobień ducha ludzkiego. To znów szkicuje zlekka obrazki dnia lub nocy, nakładając wszędzie barwy ciepłe, delikatne, bo nawet surowość zimy i przenikliwy wiatr jesieni przyobleka w szaty, w jakich zwykła chodzić melancholia. Są ludzie, których głos nawet gdy się gniewają, ma ton miękki, gdy kłują, można dojrzeć głębokie uczucie, bo jeśli ranią kogo, czynią to niejako z powinności, choć im samym serce się krwawi. Machar należy do tegoż szeregu.

W cyklu sonetowym erotyka Machara w innem trochę przedstawia się świetle. Poeta

---

„chodzące kroniki przypadkowo gdzie zeszły milkło całe towarzystwo, ze zdumieniem patrząc na popis dwojga niezrównanych szermierzy języka. Czasami przychodziło do utarczki, raz n. p. Filip utrzymywał, że Alfons był siódmym z rzędu kochankiem pani Adamowej, pani Bajczarka zaś przysięgała na miłość do swoich dzieci, że na liście zdobyczy pani Adamowej należało się Alfonsowi ósmę miejsce. Dłuższa dyskusya dopiero wyjaśniła, że pan Filip bawił podczas lata 1882 r. w Szczawnicy, a w tym czasie zawitał na trzy tygodnie z Warszawy do Krakowa hr. Kopcidło, mężczyzna nietyle piękny, o ile dystyngowany, i że tenże bez wiedzy rautującego w Szczawnicy pana Filipa, cieszył się względami pani Adamowej, a dopiero po jego wyjeździe pan Alfons stanął u mety swych życzeń. Pan Filip z całą delikatnością dobrze wychowanego człowieka przyznał słuszność pani Bajczarskiej i jeszcze tego samego wieczora zrewanżował się, okazawszy się bieglejszym znawcą ilości wprawionych zębów panny Eulalii.

Otóż do tego nieocenionego człowieka skierował swe kroki pan Antoni. Wyjawił mu swoje zamiary i prosił o radę i pomoc. Po dwugodzinnej naradzie obmyślono cały plan kampanii.

Przedewszystkiem należy trzymać się partyi konserwatywnej, bo ta ma znaczenie, władzę i stosunki i jak dotąd z małemi wyjątkami, była zwycięzcą przy wyborach. Z członkami jej trzeba się zaznajamiać, co ułatwi pan Filip, a zaznajomiwszy się, zręcznie zdobywać ich serca, do czego trzeba tylko trochę sprytu, czelności, a przedewszystkiem lokajstwa i zaparcia się własnego zdania. Przed profesorami uniwersytetu naprzykład należy dowodzić, że każdy z nich powinien mieć głos wirylny w radzie miejskiej, bo nikt tak nie stworzony do rozsądzania spraw bruków, rynien, śmietników i zużytkowania kompostów, jak profesor uniwersytetu. Nalety się cieszyć wobec nich, że nowy gmach uniwersytecki, mieszczący w sobie „głowę moralną“ narodu, wkroczył „śmiałą nogą“ na plantacye, a smucić się z tego, że młodzieżą zawładnął duch rewolucyi i opozycyi. Nie źle jest popisać się ze znajomością historyi, która polega na grzecznem wyrażaniu się o mężach Targowicy, a na surowej naganie twórców Trzeciego Maja, choć z tem trzeba być ostrożnym, gdyż nie każdy konserwatysta jest tego wyznania wiary. Tu i owdzie należy wyrazić potrzebę zawiązania koalicyi antidemonstracyjnej, którąby niszczyła w zarodzie wszelkie jubileusze wolnomyślnych pisarzy, wszelkie stawianie pomników poetom zbyt rozgrzewającym młodzież. Wszędzie zaś będzie na miejscu powstawanie przeciw warcholstwu, które połączywszy się z socyalizmem, indyferentyzmem, anarchizmem, pozytywizmem, materyalizmem, oportunizmem, nihilizmem, komunizmem i antysemityzmem pragnie zniweczyć wiekowe zarobki ludzkości, aby na gruzach tradycyi, wiary i moralności zawiesić sztandar zaspokojenia zwierzęcych instynktów. Wszędzie również należy przysięgać, iż gdyby nie „Teka Stańczyka“, na każdą wiosnę (jeżeli nie dwa razy do roku) mielibyśmy powstanie — cieszyć się, że w ostatnich miesiącach przybyło trzech szambelanów i dwóch hrabiów, co jest krokiem potężnym do odbudowania ojczyzny. Dobrze jest również zachwycać się wspaniałością zabytków architektonicznych w byłym szpitalu św. Ducha, unosić się nad tęgo zbudowanemi aniołami w „Dziewicy Orleańskiej i wogóle nad tem „światem nieziemskim, przemawiającym symboliką swoją do serc i umysłu widza“ w obrazach Matejki. Krytyki teatralne „Czasu“ należy stawiać na równi z arabeskami Rafaela, a wstępnym artykułom przyznawać ważność dokumentów dziejowych. W pewnych sferach wypada wspomnieć o cywilizacyjnej misyi rulety w Monaco, jako mającą wyłączny już dziś dar przyciągania wyższego towarzystwa, co wobec upadku salonów europejskich nadaje jej niezwykłą doniosłość. Możnaby także wygłosić ochotę wpisania się do liczby akcyonaryuszów „Przeglądu lwowskiego“, gdyż chęci odrazu realizować nie potrzeba.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



nie bawi się w opisy rozkoszy miłosnych, zdrad lub bólów, powodowanych bądź to łudzeniem, bądź zwiędnięciem uczuć. Mówi on wiele o dobroczynnym wpływie kobiety: „Choć dziesięć cię otruje — przyjdzie jedna — i ta ci błogosławieństwem.“ Lecz i tu młodość i piękność, dobroć i przylepkowatość na pierwszym figurują planie. Myśmy przywykli chcieć od kobiety więcej, — u Machara ciężko byłoby np. znaleść jakieś socyalne pożądanie.

W zbiorku tym poeta nie zapomina i o nędzarzach, odnośnie których Bóg zbłądził dając im dwoje oczu: — „mógł im dać jedno — chudziak miałby dosyć. Po co mu patrzeć na wesele innych.“

Zbiorek ten w porównaniu z dawniejszemi pieśniami jest więcej melancholijny, mniej ironiczny.

W onym też czasie wydał poeta tomik „Pêle-Mêle“ trafnie tak ochrzcony, który bez straty dla Machara mógłby zdobić szufladki jego biurka.

W roku 1893 — w roku ustanowienia stanu wyjątkowego w Pradze, — wydał poeta 20 pieśni, powstałych pod wpływem Wiednia, w którym naonczas przebywał. Piosnki noszą wspólny tytuł „Tristium Vindobona“ – (Wiedeń smutnych). Poeta zmężniał. Podaje spostrzeżenia polityczne. Wyśmiewa kołysanie czechów między Wschodem i Zachodem, ironizuje walkę stron i wzajemne rzucanie sobie słowa „zradcovati“, którego utworzenie jest zasługą młodszych czasów; drwi z pomocy zewnętrznej, bądź francuskiej bądź rosyjskiej („potrzeba tylko, byśmy się zbliżyli, a szponem pięknie wydziobią nam wzrok.“) Wierszem krótkosylabowym, jędrnym i zwięzłym wciska się do głowy czytelnika, gdy ośmiesza „stare pergaminy,“ pożądania historycznego prawa państwowego, przemawiając za prawem przyrodzonem. W „bolesnej epistole“ domaga się boju tj. dążenia naprzód: — „dwa razy bojowaliśmy z całym światem o swobodę i o to, co jest nasze, a walczyliśmy pięknie; — lecz z tej sławy, jak niedźwiedź w zimie z bogatego tłuszczu, do dziś tyć chcemy w naszej mizerocie, choć sława ta już dawno przetrawiona, a niedźwiedź chudziak, jeno kość i skóra.“ Naprzód! — Wspaniale maluje dzień 1 maja na ulicach Wiednia i zręczne pisze epitaphium XIX stuleciu. W wierszu „Polsce“ charakteryzuje Polaków. Pełen szacunku składa hołd owej „Niobie, która okiem spoglądała Dolorosy“. Ale jakaż przepaść między bojującą, rewolucyjną Polską a dzisiejszą praktyczną stańczykeryą, która „na wspomnienie onego głupiego czasu (boju) — wstydzi się — spluwa — nie wspomina więcej.“ W oryginalnym wierszu: „W parlamencie“, poeta kilkoma rzutami szkicuje wzajemne ustępstwa za cenę dodanego ministra, lojalne cofanie wniosków i te błazeńskie mowy opozycyi (tu parodjuje domagania się czeskiego prawa na podstawie przysiąg królewskich), witane oklaskami kilku stronników a z nudów słuchane przez paru innych posłów, – nie dla treści, lecz dla dowcipu.

Pieśni te — to poezya polityczna. Darować więc trzeba autorowi nie dość wytworną częstokroć formę. Choć i tu dał poeta dwie pieśni: „Smutne perspektywy“ i „Na Kahlenbergu“, nie treścią jedynie bogate, ale przyozdobione (zwłaszcza ostatnia) w szaty pełne wykwintu i wdzięku. W pierwszych — na tle oddalonego dział grzmienia i szczęku broni Machar przedstawia nam rozkoszny Wiedeń, porównywując jego pląsy do uroczego walczyka, — ale w tejże chwili przypomina Czechy — „nasz naród! — bez steru, celu, wiosła... na prawo, lewo chwyta frazesy hasła — i w nich wszystką siłę, cały zapał traci“. - „Hosanna! Nasz Zbawiciel! — krzyczy naród – a w końcu osioł sam bez Zbawcy wkracza na scenę....“

Wiersz „Na Kahlenbergu“ jest najpiękniejszym nietylko z tego zbiorku, lecz może z całego szeregu wydanych przez Machara pieśni. Miękkością, ciepłym tonem i układem wiersza przypomina jedne z najpiękniejszych ballad Mickiewiczowskich „To lubię“. Opisawszy cudne wdzięki powabnej kobiety: Wiednia, przechodzi poeta do bolesnych pytań. Cóż wspólnego z tą delikatną niewiastą ma jego ojczyzna? „Ni język, ni dążenia, sława ani ból twój, — tylko droga z Dürnkrut aż do Białej Góry, — ta droga szeroka a krwawa“ i rzuca znaną legendę o Samsonie, aby nadzieją przyszłości pocieszyć duszę strapioną.

Wspominaliśmy już, że Machar w sonetach umieścił kilka pieśni, pełnych współczucia dla kobiet. W roku zeszłym wyszły w świat — „Magdalena“ (większy utwór) i „Tu powinny kwitnąć róże“. Czy poeta maluje wspomnienia o więdnącem szczęściu, bo pan mąż się przesycił, czy pisze list, gdzie przebudzona świadomość kobiety zrywa z miłością konwencyonalną, gdzie żona rzuca mężowi w oczy pełną garść jego występków i „idzie żyć na swój rachunek“, czy stawia nam przed oczy życie żony robotnika, którą mąż brutalizuje, a ona to znosi z zupełną rezygnacyą („Niewolnica niewolnika“), czy nawet mniej smutne snuje przed nami widoki, — wszędzie jest głęboka psychologia instynktów ludzkich i całe serce poety po stronie cierpiących. — Jednakże i tu Machar nie zajmuje się kwestyą kobiecą. Walki o prawa niewieście nie odmalował on nigdzie. Nigdzie nie przedstawił nam obrazu dzisiejszej socyalnej kobiety, ani słowem nie przemówił za emancypacyą, — bodajby najumiarkowańszą, — chyba, że kto zechce zaliczyć tu ową kobietę, „która idzie żyć na własny rachunek“. — Pan sobie — pani sobie.

Największym dotychczas utworem Machara jest „Magdalena“, gdzie rozstrzyga, czy upadła kobieta może wejść z powrotem do towarzystwa naszych „porządnych ludzi“. Odpowiedź brzmi: „Nie! — bo bourgois nic nie przebaczy.“

Akcya rozpoczyna się w Pradze. Do gmachu, gdzie era kapitalistyczna podała dłoń erze komunistycznej, gmachu, na którym niewidzialnemi głoskami wypisane są słowa: „Wspólność kobiet“ i „Ceny stałe“, wstępuje młody bourgois, Jerzy, przepędzający tam często gęsto wieczory i znajduje tu świeżo przybyłą młodą dziewczynę, — przedni kąsek dla wykwintnego ludożercy. Ale melancholia dziewczyny skrępowała jego namiętności; — Jerzy poczyna z nią rozmawiać i wychodzi, nie ośmieliwszy się strząsnąć pyłku skromności z wyglądającej słonka róży młodocianej. Po kilku odwiedzinach postanawia ją wyrwać z domu rozpusty i odprowadza do siebie, umieszczając pod opieką złotego serca ciotki, rozkochanej w Jerzym i oddanej mu zupełnie. Dziewczę

KAZIMIERZ TETMAJER.

KU NIEBU.

Szła Hanka po Skupniowym Upłazie, a wiatr taki dął, że się zdawało, iż ją zrzuci do doliny. Zimno było, że choć i serdak miała, i na serdaku chustkę dobrą, po każdej kosteczce mróz się mrowił. Po niebie kłębiły się i kotłowały śniegowe chmury, przez które świeciło słońce, jakby przez ołowianą blachę, całkiem bez blasku i jakby martwe. Naokół była pustka wszędy okrutna, i szum taki gnał przez góry od wiatru, że aż lęk piersi ściskał, bo się zdawało, że całe Tatry jęczą.

A Hanka szła przed siebie.

Żeby ją kto był spotkał, pewnieby jej się pytał: a po cóż ty tam idziesz, dziewczyno, w te góry i w tę pustkę, w ten szum? Tam już nie mieszka nikt, tylko strach na ciebie warknie, śmierć ku tobie zęby wyszczerzy, a niemoc cię obali i po tobie. Kto też idzie w góry ku końcu jesieni? Albo się wróć, albo się już nigdy nie wrócisz. Nie zobaczysz ty już więcej zielonej trawy, ani jasnego owsa, tylko idź dalej. Wiatr cię zamrozi, kurzawa cię zasypie, orłowie i jastrzębie ciało twoje młode po wierchach rozniosą. Po cóż ty tam idziesz dziewczyno?

Takby się był na pewno każdy jej spytał, ktoby ją był spotkał, ale już jej nikt spotkać nie mógł. Koziarze dawno flinty na ścianach zawiesili, bo już kozy strzału nie warte; nie włóczy się po górach nikt.

Ale Hanka, choć tak pusto naokół okrutnie, rada, że jej nikt pytać nie będzie, po co idzie?

Cóżby mu powiedziała? Ucieka w góry przed swojem nieszczęściem, przed swoją hańbą... Dokąd? Po co? Tego ona nie wie, ani o tem nie myśli. Idzie przed siebie. abu iść, aby dalej od ludzi.

Zła chwila się zbliżyła i nawet kryć się już było dłużej trudno... Niejednej się to trafiło, ale że już na gorszą nie mogło trafić. Ojciec i matka pomarli, nie zostawiając Hance nic, bo co było, przepili ze szczętem, rodzina, jak to rodzina majętna, o takim dziadzie, jak Hanka, słyszeć nawet nie chciała, a Wojtek Chroniec, co ją obiecywał brać, powiedział jej tylko: ostoń z Pane Boge — i pojechał do Ameryki. I Hanka została we wsi, sama jedna, opuszczona, w służbie u żyda, który ją poniewierał, teraz zaś wiedziała pewnie, że wypędzi. A wówczas? Gdzie się podzieje? Co pocznie? Z głodu przyszłoby może zemrzeć, nim się w siłach na nowo poczuje, a dopieroż o służbę z małem dzieckiem trudno. I żeby to jeszcze ludzie dobrzy byli, ale kiedy się Zośce Kosiarskiej podobnie wydarzyło, że to bogaczka, nikt jej nie powiedział nic, a ją, Hankę, ledwie kto spostrzegł, co się święci, każdy palcem wytykał.

A przecież ona jest taki człowiek i takie boskie stworzenie, jak i drugi.

I zdjęła ją straszna rozpacz. Już jej było przedtem tak źle na świecie, że się czasem zdawało, że nie przetrzyma, a dopiero teraz się zacznie; Z mostu się rzucić, albo co? I szła na most, ale ile razy spojrzała w męt cichy, zielony i prawie nieruchomy, aż ją coś w tył ciskało, i uciekała tak, jakby ją kto za warkocz na plecach łapał i gwałtem do wody zepchnąć chciał.

Próbowała skoczyć w studnię, ale jeszcze cięźej by było w tę ciemną gardziel wpaść.

Tak trzeba było pokutować za tę miłość serdeczną, za to ukochanie bez pamięci, za tę słodkość niezmierną, co jak miód tęgi poiła. Nie było dla niej miejsca na świecie, ani pocieszenia.

Bała się Hanka złej chwili, bała się żyda, bała się ludzi, bała się księdza wikarego, który po imieniu i nazwisku wywoływał z ambony „ladacznice“, trędowatemi przezywał i wdawać się z niemi, jak z zapowietrzonemi bronił, bała się nieszczęścia swego i swojej niedoli — trzeba się było gdzieś podziać.

Raz w południe w niedzielę siadła Hanka na drzewach za karczmą i zaczęła płakać. Płakała tak, że mało jej oczy ze łzami nie wypłynęły, a potem zarzuciła

wyidealizowało sobie Jerzego, — wkrótce jednak doszło do przeświadczenia, że jest on zwykłą, mierną istotą. Pod wpływem poczciwej staruszki Magdalena nasza odżyła i razem z nią pracuje nad szyciem bielizny i ubranek dla biednej dziatwy miejskiej. Ale Jerzy, któremu złośliwe docinki towarzyszy o sentymentalności dokuczyły, i który poczyna wstydzić się szlachetnego postępku, zabiera ciotkę i przyczynę swoich moralnych szpilek i wyjeżdża do pobliskiego miasteczka, gdzie ma piękny dom. Magdalena żyje w ciszy, wszystko może poszłoby jako tako, lecz zjawia się ojciec, pijak i próżniak, „szlachetna dusza", który dla nasycenia żołądka namówił prośbą i groźbą jedyną swą córkę zapisać się do owego, jak Heine powiada, „poziomego rzemiosła". Przyszedł, by wyłudzić trochę grosza i wypaplał całą historyą córki. Wieść rozeszła się lotem plotkarskiego języka. Brudne, gadatliwe, płytkie miasteczko, wietrzące już przedtem w Magdalenie zwierzynę nie pierwszej czystości, dokucza wszelkiemi sposobami nieszczęsnemu dziewczęciu. Odwracają się od niej. — A Jerzy? — Nuży go to wszystko, a zresztą przeszkadza w ożenieniu bogatem i w kandydaturze na posła. Machar całą potęgą pióra odtwarza nam starcia pseudostronnictw, zakładanie dzienników, kaptowania głosów itp. i całe wogóle życie miasteczkowe. Na tem szarem tle umieścił poeta jeszcze jedną sympatyczną postać, młodego studenta.

Poznawszy go przypadkiem, Magdalena cierpiąca uczuwa w niem coś pokrewnego. On inaczej mówi, inaczej myśli, on jeden współczuje, on jeden na tej bezludnej, — przepraszam: bezuczuciowej wysepce, — rozumie ją. Ale ta postać, obdarzona uczuciami szlachetnemi, ukrywająca pod czaszką skarby rozumu, jest jednym z tych 20 czy 25% studentów, którzy z nędzy chorują na suchoty. Student umiera. Przyjaciółka pospiesza rzucić garść ziemi na trumnę. I właśnie wtedy, kiedy ona pełna anielskiej boleści i zadumania nad nędzą życia powraca z pogrzebu, w progi domostwa wchodzi Jerzy ukołysany wiadomością pewnego zwycięstwa swej kandydatury, wita się z Magdaleną i pospiesza za nią do jej pokoiku, gdzie poszła zmienić ubranie.

Gdy ta zdziwiona nań spogląda, Jerzy obejmuje ją i rozrywa stanik, by w gorącej zanurzyć się piersi. — Okrzyk oburzenia i boleści był odpowiedzią na postępek Jerzego. Magdalena wyszła — by nie wrócić więcej... A on? — Przez głowę przemknęły mu myśli: „Może to lepiej, — żona, — kandydatura, — spokój," — i nie dumał nad tem więcej, kontent, że mu się oczyściła droga życiowa.

A Magdalena dążyła tymczasem ku Pradze, by w nurtach Wełtawy szukać ukojenia. Ale szumiąca woda, głębia i mrok napełniają ją strachem. Ona lęka się umierać, — ona żyć, żyć jeszcze pragnie. Nigdzie ratunku, — noc wszędzie i zimna obojętność i głód. Więc idzie zwolna ku znanemu gmachowi, stąpa cicho po schodach, serce bije jej mocno, lecz kładzie rękę na klamce, by wstąpić w progi starego życia, które ją wstrętem przejmuje. A na zegarze bije ósma, a dzwonek wydzwania „Anioł pański." Mgła osiada na domach i wisi w ulicy. Robotnicy po pracy dążą do pobliskiego szynku, gdzie na tle dymu rysuje się postać znanego już nam wyzyskiwacza wdzięków swej córki. Głęboka malancholia spoczywa na całym utworze.

Komu życie i ludzie zostawili choć odrobinkę serca, współczuje z tą Magdaleną, pomimo jej braku energii i siły, — a z goryczą odwróci się od Jerzego, w którym szlachetne drgały popędy, który nie jest na wskroś zepsutym i bezecnym, a który jednak przez brak charakteru i dzięki zgniłemu otoczeniu staje się taką powszednią, marną istotą.

W ostatnim czasie Machar wystąpił jako krytyk. Napisał ocenę działalności poety Hálka, — i znów jest przedmiotem rozpraw starszego i młodszego pokolenia. Znów powstał bój, — wieczny bój.

Zygmunt Makowiecki.





Obrazki lwowskie.

(Prasa.)

II.

Galicya jest tym z trzech zaborów Polski, który pod względem ilości czasopism przoduje dwom innym. Że jednocześnie posiada największą liczbę analfabetów, że procent ostatnich jest tak wielkim, iż wobec przymusu szkolnego i owego rozpowszechnienia drukowanego słowa, zapytujemy siebie, czy to nie omyłka obliczeń statystycznych, to znów rzecz inna, którą, jak wiele faktów na świecie, a zwłaszcza w Galicyi, nie tak łatwo pojąć. Faktem jest przecież imponująca cyfra 150 czasopism, wychodzących w państwie austryackiem w polskim języku. Dawniejsze pierwszeństwo Krakowa, który we wszelkich objawach umysłowego życia zajmował miejsce przodujące, pod względem prasy, a kto wie czy i nie wydawniczym, musi już dziś walczyć o lepsze ze Lwowem, nawet biorąc tu pod uwagę tylko polskie czasopisma, obok których istnieje przecież kilka, jeżeli nie kilkanaście, rusińskich.

Złośliwi w tym rozkwicie prasy nie upatrują zapotrzebowania czytelników, ale zbyt wielką ilość piszących, którzyby radzi znaleść ujście dla pomysłów i prac, a zwłaszcza źródło zarobków. Inna rzecz, że po za paru dobrze stojącemi materyalnie redaktorami, owo źródło płynie bardzo małym strumykiem, że cyfra stu reńskich miesięcznie dla współpracownika pisma codziennego jest niekiedy trudnym do osiągnięcia ideałem. Dziennikarz galicyjski to nie wiedeński redaktor jeżdżący karetami do biura, ale zwykle ciężko skłopotany człowiek, który do rozmaitych zajęć brać się musi. Istnienie wielkiej ilości pism zależy bezwątpienia od zaostrzonych stosunków partyjnych. Każdy obóz

---

chustkę na siebie i poszła. Szła przed siebie ku górom, sama nie wiedząc dokąd idzie? Szła, aby iść.

Drogę ku Gąsienicowym Stawom znała, bo tam pasała krowy, tam się więc zwróciła. Na Skupniowym Upłazie śnieg był wyżej kostek, ale Hanka szła. Zaczerniły się przed nią szałasy. Miły mocny Boże, jak jej tu bywało dobrze! Co się tu człowiek uweselił, co się naśmiał! Pasał tu i Wojtek, i tu się zalubili na Haneczyne nieszczęście. Pasały tu także i Wawrzykowa Broncia i Marysia od wody. Nieraz poszły za Zielone z krowami, pokładły się twarzą do słonka i śpiewały, aż się echo po Kościelcu głosiło. A słońce to tam chadzało po zieleni, takie jasne, aż radość była patrzeć. Gdzie się obrócić, to krowy czarne, albo cisawe, ztąd i ztąd dzwonią, a tam po turniach wysoko, po upłazkach Wojtkowe owce bielą się, dzwonkami zbereżą, a Wojtek sobie na piszczałce piska, albo śpiewa:

Ani mi nie ciężko, ani mi nie lekko,
Ino mi ku tobie Hanusiu daleko...

A ona mu na to odpowiadała

Ej kieby ja miała klucyki ode dnia,
Zamykałaby se nocke od połednia...

I tak do siebie śpiewali z daleka, aż sie echo po Kościelcu głosiło, a słońce było takie jasne, że się każdy kwiatek śmiał.

Albo kiedy stary Tomek w szałasie na gęślach zagrał, a Wojtek wyskoczył do tańca! Nie było nadeń tancerza. Tak się nosił ponad ziemię, jakby mu kto sokołowe skrzydła do kierpców przyprawił. Wszystkie dziewki chciały go oczami zjeść, ale on był jej, Hanczyn freirz.

Albo kiedy deszcz lał, a oni wszyscy siedli koło watry, Wojtek ją objął wpół, przycisnął ku sobie, a jej dobrze serce z piersi nie wyskoczyło. A kiedy ją pocałował, to jej się w oczach ngliło, a wargi od warg odkleić się nie chciały.

Milszy też jej był, niż te gwiazdy, niż to słońce na niebie. Stary Tomek bajki plótł, a oni siedząc koło watry, jedno przy drugim, słuchali.

Miły, mocny Boże, wszystko to minęło, jak żeby kto przespał...

Minęło i nie wróci...

Zostały już poza nią szałasy; szła ku Zielonemu. Śnieg był coraz większy i wiatr dął coraz mocniej, aż dech w piersiach zapierało. Gdzieś tam po uboczy przeleciały kozy spłoszone, jedna, dwie, pięć ich Hanka naliczyła.

Pognały ku Liliowemu, zaczerniły się na przełęczy na śniegu i znikły; mimowiednie skręciła się Hanka ku przełęczy liliowej i szła dalej.

Siły poczęły ją opuszczać i jakieś czerwonawe światło, jak ogniki, poczęły jej latać przed oczyma, zrazu zrzadka, potem coraz gęstsze i czerwieńsze, rzekłbyś krwawy deszcz. A zimno, jakby kto całe ciało lodem obkładał. Dziwny też szum w głowie poczęła Hanka słyszeć i coś ją jakby piekło w mózgu. Przystanęła. Wszędy góry, białe upłazy, czarne, omiecione ze śniegu turnie, takie wysokie, jak jej się nie wydawały nigdy, krzaki zaśnieżonej, obmarzłej kosodrzewiny, urwiska, w które wiatr śniega kurzawy ciskał, na niebie, jakby za ołowianą zasłoną, słońce bez blasku, jakby martwe. Pustka głuchość okrutna...

Ale Hanka szła dalej, już nawet dobrze nie wiedząc, dlaczego ze wsi uciekła i czy tam jest jaka wieś poza nią? Coś jej się majaczyło, jakby dzwony z daleka biły i ksiądz śpiewał, podobnie jak na pogrzebie jej matki, a czasem wiatr zawył tak, jakby groby na cmentarzu jękły.

Hance zaczęły się plątać nogi, w oczach jej się poczęła czynić noc, a w głowie czynił jej się coraz większy szum i ogień. Potem zdawało jej się, że się wszystko wali na nią i zgniata ją; skały, kosodrzewiny, chmury. Czuła ucisk, tłoczenie na piersiach i ramionach, zupełnie jak podczas odpustu w ludzimierskim kościele, na Matkę Boską Różańcową, kiedy myślała, że ją zgniotą w tłumie. I przypomniała jej się Matka Boska ludzimirska w niebieskim płaszczu i złotej koronie, ponad ołtarzem. Modliła się już do Niej wtedy Hanka, czując nad sobą nieszczęście! Pomodliłaby się i teraz, ale jak tu daleko iść, a kolana się już chwieją, więc tylko poczęła szeptać: Zdrowaś Maryjo, Pon s Tobom, łaskiś pełna...

Wtem jakaś światłość zakołysała się

chce mieć swoje własne organa, co nie przeszkadza co prawda przedrukowywać *in extenso* artykułów z pism przeciwnego obozu, ale jednocześnie pozwala zjadliwie przeciw niemu występować.

Porównywając prasę codzienną lwowską z takąż prasą Krakowa zauważyć trzeba, że krakowska występuje z większą powagą, że ma więcej literacką formę, pisana jest wytworniejszym językiem, jeżeli wogóle o wytworności języka mówić można w prasie i to galicyjskiej, lwowska zaś jest ruchliwszą, bardziej krewką. Te ostatnie przymioty odnoszą się przecież tylko do organów dwóch stronnictw krańcowych, a więc ultra konserwatywnego Przeglądu, organu Länderbanku, jedynego zasobowego pisma, który na tych swoich bankowych koligacyach zarabia sumy niemałe, i do postępowego Kuryera.

Redaktor „Przeglądu", p. Ludwik Masłowski, ongiś postępowy współpracownik pism warszawskich i tłomacz Darwina, dziś przeniósłszy ziemskie dostatki i piękną kamienicę nad idealne dobra postępu, cały zasób swych zdolności, sprytu i trudu poświęca redaktorskiej pracy nad pismem ultrakonserwatywnem. „Przegląd" jest przybytkiem wsteczniclwa, nieprzyjacielem wszelkich postępowych dążności, zdecydowanym wrogiem każdego, co dziś istniejącą korupcyą i nadużycia usunąć by pragnął, wyzyskując choćby nawet dane przez ustawodawstwo austryackie prawa. Przecież już dla tego, że jest zdecydowanym i ma swoją barwę, unika najstraszliwszego przekleństwa, jakie mieć można na pismo, — nie jest nudnym. Pan Masłowski stara się być zawsze jak najlepiej poinformowanym, reporterska strona „Przeglądu" przedstawia się najlepiej ze wszystkich pism lwowskich, informacye poważniejsze przecież są zwykle oświetlone bardzo tendencyjnie. „Przegląd" np. nie chciał wraz z p. Badenim widzieć nadużyć wyborczych, lecz gromił ludzi, którzy burzyli dawny porządek, pozwalający bezkarnie gospodarować szlachcie, a we Włoszech przy uroczystościach rzymskich widział tylko beztakt straszny wobec papieża.

Na drugim krańcu stoi „Kuryer lwowski", organ galicyjskiej partyi ludowej. Tu znów, o ile strona zewnętrzna często szwankuje, nie mówiąc już o druku, papierze, formie literackiej, ale nawet zbyt pospiesznie zebranych brukowych wiadomościach, które często odwoływać trzeba, o tyle tendencye są uczciwe i pojmowanie dziennikarskich obowiązków poważne. Nic to dziwnego, skoro „Kuryer" takich ma współpracowników jak utalentowany powieściopisarz, publicysta i uczony dr. Franko, lub znany wam dobrze poeta Jan Kasprowicz. Nazwa Kuryera nie uczyniła zeń bynajmniej brukowego świstka, lecz tylko odebrała togę, pozwoliła nieco powierzchownie traktować wypadki pozakrajowe, a w tonie bardzo poważnym zająć się sprawami krajowemi, traktować sumiennie politykę dnia, podnosić każdy objaw polskości i demokratyzmu, a gromić korupcyą. W czasie wyborów, a więc w ostatnich miesiącach prowadził „Kuryer" stałe sprawozdania z akcyi wyborczej, w których opisywać się starał wszystkie nadużycia władz i trudności, jakie spotykało stronnictwo ludowe. Rubryka ta nie jest jeszcze wyczerpaną, ale ponieważ hr. Badeni orzekł, że nadużyć nie było, prokuratorya o nich pisać nie pozwala, czego dowodem trzykrotna konfiskata ruskiego „Hałyczanina" za artykuły tego rodzaju. Kto jedynie chce być dobrze poinformowanym o polityce pozakrajowej, lub ruchu społecznym za granicą, temu „Kuryer" nie wystarcza. Nie chcąc dopełniać informacyi dziennikarskich tendencyjnemi artykułami „Przeglądu", zwrócić się trzeba do „Gazety lwowskiej". Jest to organ urzędowy, który dzięki znacznym środkom, jakiemi rozporządza, nie potrzebuje oszczędzać miejsca, jest więc dziennikiem dużych rozmiarów, a poparcie rządowe pozwala mu nie napadać tak zjadliwie na organy i ludzi innych obozów, jak czyni to np. „Czas" lub „Przegląd"; redagowany jest przytem starannie. Najwięcej jałową zaś lekturę stanowią wielkie płachty „Dziennika polskiego" i „Gazety narodowej", w których czytelnik nie znajdzie nawet polemiki, ani tendencyjności wybitniejszej, która mogłaby mu rozgrzać krew, a razić go będzie wiele pominiętych lub skrzywionych faktów z rzędu tych, które istotnie stanowią najpoważniejszą treść życia społecznego.

Prasa lwowska unika wszelkiej wspólnej akcyi, czy inicyatywy, nie jest przeto korporacyą, z którą jako z taką ogół liczyć by się powinien, pozbawiając się samowolnie potężnego środka oddziaływania, a kto wie, czy nie zmniejszając przez to liczby swych czytelników; dotąd bowiem abonowanie pism niemieckich i czytanie ich po kawiarniach bardzo jest rozpowszechnione w Galicyi, a zwłaszcza wschodniej.

Losy pism tygodniowych są bezwątpienia cięższe, niż codziennych. Przedewszystkiem powodzeniu samodzielnego tygodnika, czy miesięcznika przeszkadza zwyczaj dodawania do dzienników bezpłatnych lub niesłychanie tanich dodatków tygodniowych, czy miesięcznych. I tak przy Gazecie lwowskiej wychodzi „Przewodnik naukowy" — „Dziennik polski" dodaje „Bluszcz warszawski", — „Kuryer" dołącza „Tydzień literacki", — „Przegląd" grozi obecnie zalewem przez warszawskie „Echo muzyczne i teatralne" itp. Naturalnie, że publiczność „pism tygodniowych" opłacać nie rada, a istniejącym nie łatwo walczyć z konkurencyą bezpłatnych lub warszawskich, dodawanych po zniżonej cenie. Takim warszawskim konkurentem staje się oprócz „Bluszczu" i „Echa" od nowego roku „Wędrowiec", którego redaktor zakłada tu agenturę. Dodać trzeba, że „Wędrowiec" zabrał się do rzeczy bardzo sprytnie; a więc przedewszystkiem skorzystano z chwili, w której upadł „Świat" krakowski. Naturalnie, że ani pod względem wartości literackiej ani artystycznej „Wędrowiec", nie mający prawie nigdy własnych kliszy, tylko te, które mu odstępują niemieckie Familienblatty, ze „Światem" równać się nie może. Nie o to przecież chodzi. „Świat" utrzymać się nie mógł, bo odebrano mu wstęp do Królestwa, a nakład był duży na tak piękne i staranne wydawnictwo. Tymczasem „Wędrowiec" doszedł już i bez Galicyi do bardzo pokaźnej liczby abonentów, a tu na lwowsko-galicyjskim gruncie rozpowszechni się niezawodnie, gdyż dodaje dla całorocznych prenumeratorów biblią Wujka z ilustracyami Doré'go.

Pocieszającym objawem jest kilkoletnie istnienie we Lwowie kwartalnika historycznego, który naturalnie nie jest organem

---

ponad upłazem — Hanka drgnęła: Zje coz to han?

A światłość się stawała coraz większa, jakby z błękitu i srebra dziergana i szła ku Hance. Przelekła się Hanka bardzo i szum się jej w głowie jeszcze mocniejszy uczynił, nogi się pod nią ugięły i chciała uciekać, ale wydało jej się, że z tej światłości wychodzi ku niej głos cichy i bardzo słodki: Nie bój się...

Hanka stanęła.

A głos odezwał się znów: Pódź.

— Ka? — szepnęła Hanka.

Głos odbowiedział: Ku niebu...

Wówczas Hanka ośmielona podniosła oczy i zobaczyła twarz jak miód, i oczy jak kwiaty. Coś, jak niebieski płaszcz, majaczyło w światłości i złota korona zdawała się migotać w górze.

— Tyś to jest, Pani anielska? — szepnęła Hanka.

I wydało jej się, że Matka Boska skinęła na nią i poczęła przed nią iść wolno ku Liliowemu. Jakieś nowe siły wstąpiły w Hankę, kolana przestały jej drzeć, uciszył się nieco szum w głowie, a zimna prawie już nie czuła. Wiatr też na chwilę przycichł. Tylko coraz grubsze chmury zawlekały niebo i coraz mgliściej błyszczało słońce, zupełnie martwe.

Hanka szła zrazu sporo i z jakąś otuchą w sercu, ale wkrótce znowu jej się nogi plątać poczęły, czerwone płatki zaczęły się sypać przed oczyma, szum głowy ogarnął, niemoc zdjęła ją tak wielka, że już prawie stóp ze śniegu wydobywać nie mogła.

— Pani, siadłabyk se — szepnęła.

— No to se siednij — odpowiedział głos z światłości.

Więc Hanka usiadła pod dużym kamieniem i oparłszy się oń plecami, wyciągnęła zbolałe nogi przed siebie. Ale wówczas światłość poczęła jakby mdleć, roztapiać się, niknąć... I znowu naokoło nie było nic, tylko góry i urwiska i śnieg biały, smutny i głuchy...

Wszystko to zlewało się Hance w jakiś zwał gór i śniegu pod mętnem niebem.

— Pani, każeście? — szepnęła.

Ale jej nie odpowiedziało nic. Chciała wołać, nie mogła. Zdawało jej się, że jej ktoś na każdą rękę i na każdą nogę ciężkie kamienie pokładł. Dreszcze, jak mrówki, poczęły jej chodzić po ciele i niemoc ją taka zdjęła, że ledwo oddychać mogła. Oczy i uszy jakby jej kto zatykał ręką. nie wiedziała i nie myślała nic, czuła tylko, że śniegu koło niej coraz więcej, że jej już zakrył nogi, do pasa sięga, piersi zasypuje. Robiło jej się coraz cieplej, więc była rada. W powietrzu uciszyło się i nawet słońce na chwilę błysnęło jaśniej, srebrząc śniegi.

Hanka, zupełnie bezwładna patrzyła przed siebie. Czuła, że dzieje się z nią coś dziwnego, jakby w niej wszystko powoli tężało i czyniło się lodem. Ogarniała ją coraz większa niemoc i jakby ciężka jakaś senność.

— Usnem — myślała.

Wtem świat się cały zamroczył od kurniawy, wiatr huknął i spadł z gór, jak lawina, miecąc przed sobą całe płaty śniegu i strzępiąc je, że się rozlatywały, jak pióra z głuszcza porwanego przez orła. Hankę w twarz począł ciąć ostry, drobny lód, a wicher to ją obmiatał z śniegu do pasa, to znów prawie po usta nim zasypywał. Ciepła krew poczęła się sączyć Hance z twarzy i szyi, ciętej lodem.

Na chwilę ból wrócił jej przytomność: tu moja śmierć — pomyślała i przestraszona chciała dźwignąć się, wstać, ale była zupełnie bezsilna i znowu zamąciło jej się w głowie. Słyszała szum, widziała góry, ale coraz mniej, coraz słabiej.

I znów na chmurze śniegowej, w zamroczy zamajaczyła światłość, o wiele bledsza, niż pierwej, ale daleko bliższa, tuż przy Hance. Nawet zdało jej się, że jakaś ręka dotyka jej ramienia. Podniosła oczy: ta sama twarz, jak miód i oczy jak kwiaty, tylko o wiele bledsze. I znowu zdało jej się, że ten sam cichy i bardzo słodki głos odzywa się: Pódź.

Ka? — szepnęła Hanka.

— Ku niebu. Daj rękę — rzekła Matka Boska.

I Hanka podała Jej rękę i poszła.



specyalnie lwowskim, ani nawet galicyjskim, ale przedstawicielem polskiej wiedzy historycznej wszędzie, gdzie się nią interesują. Poważnem pismem pedagogicznem jest „Muzeum“, organ towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, który oprócz zagadnień pedagogicznych daje niekiedy prace z innego zakresu i jak na Galicyą cieszy się licznym zastępem czytelników. Czwarte pismo naukowe (trzeciem jest wspomniany już „Przewodnik“) „Ekonomista polski“ upadło przed rokiem blizko, straciwszy, jak mówią wtajemniczeni, znaczną część abonentów przez zajęcie zbyt wyraźnego politycznego stanowiska. A szkoda, jedyny to bowiem organ specyalny w zakresie ekonomii społecznej, a w kraju autonomicznym niezbędnie był potrzebnym. Słów kilka jeszcze o istniejącym od kilku zaledwie miesięcy „Przeglądzie Wszechpolskim“. Tendencye jego i cele czytelnikom moim pewnie są wiadome, zaznaczę je przecież raz jeszcze, bo spotykam się ze zdaniem, iż „Przegląd“ założony został, aby umieszczać wiadomości, których cenzura warszawska przepuścić nie chce. Nie wiem, co kierowało redaktorami pisma, to pewnem jest przecież, że na czytelniku robi ono wrażenie, jak gdyby zogniskować chciane w jednym organie informacye o wszelkich objawach życia polskiego, gdziekolwiek się ono rozwija. Dla narodu tak rozproszonego jak my, i dla kraju, którego części rozgraniczono murem politycznych, niepodobnych do przebycia odrębności, interes to pierwszorzędnej wagi. Wdzięczni być też musimy redaktorom pisma, którzy pracę podobną podejmując, prowadzą ją poważnie i bezstronnie. Nie wglądając też na dziś bliżej w treść nieco bladą i pod względem literackim surową i w kierunek pisma, wyrażę jeszcze życzenie, aby znalazło jak najszersze poparcie czytającego ogółu, który tak rzadko obejmuje całość przejawów umysłowego, społecznego i politycznego życia polaków.

Pobieżny ten przegląd czasopism, wychodzących we Lwowie, w którym pominąłem niejedno, jak n. p. wspomniane już w pierwszym obrazku pisma robotnicze, lub ludowe, wykazał przecież jak na lwowskie stosunki, nadspodziewanie szeroki i różnostronny ruch umysłowy. Wobec tylu pism miejscowych dziwić się trudno, że mało abonowane są pisma warszawskie. Najczęściej spotkać można „Tygodnik ilustrowany“, czasem „Przegląd tygodniowy“ „Prawdę“, „Gazetę polską“, a poważne „Ateneum“, jak się dowcipnie wyraził jego redaktor, ma 1 i pół abonenta — i to bez-płatnego.

S. Z. D.

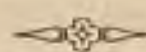


JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Krolestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)



(Ciąg dalszy.)

Smutnemi są te niemal codzienne zajścia, a jeszcze smutniejszem, iż niejednokrotnie tak błahemi ich przyczyny. Najwięcej może zabrała ofiar ostatnia demonstracya, a gdy się pomyśli o jej początku, to doprawdy, że smutny obraz niedoli Polski występuje z tragikomicznem zabarwieniem. Główną agitatorką była niezbyt młoda i nieładna kobieta, która widocznie za jakąbądź cenę pragnęła, by o niej wiedziano i mówiono, a nie mogąc uczynić tego innym sposobem, rzuciła się do głośnego i krzykliwego patryotyzmu. Przyszedł jej pomysł nieszczęśliwy urządzenia żałobnego obchodu i nabożeństwa z procesyą. Syn jej był studentem, w domu bywało dużo jego kolegów, myśl prędko przeszła w czyn, a jeden z młodych ludzi poszedł do księdza, by ową mszą zamówić. Ksiądz ani się domyślał, co się święci; on i jego duchowni pomocnicy, którzy obecnie wszyscy są wysłani w dalekie strony, byli w tym wypadku niewinnymi jak dzieci. Dopiero, gdy odprawiając nabożeństwo, odwrócił się ku wiernym i spostrzegł kościół pełny, a wśród tłumu 200 do 300 studentów w mundurach, zbladł i domyślił się, że wpadł w zasadzkę. Owa pani zaś werbowała ludzi na wszystkie strony i była strasznie oburzoną na „podłe tchórzostwo“ tych, co pragnęli pozostać w domu. W pismach umieszczono, nie w tekscie, lecz pomiędzy ogłoszeniami, zawiadomienie, iż ma się odbyć msza dziękczynna z powodu cudownego uratowania dziewczynki, której nazwisko przytoczono. Nazwisko tego dziecka, które nie uderzyło cenzora, chociażby z tego powodu, iż na cenzora ogłoszeń nie wybierają najzdolniejszych, najinteligentniejszych ludzi, dla znających dokładnie wypadki z końca zeszłego stulecia w Polsce, było bardzo znaczącem, gdyż dziewczynka owa, w 1794 r. po wybuchu powstania, wydobytą została cała i nienaruszona z pod końskich kopyt całego szwadronu kozaków, który po niej przeleciał. Czytelnicy zrozumieli od razu o co chodzi i kościół był zapełniony po brzegi. Z kościoła udała się procesya do historycznego domu szewca Kilińskiego na Starym Rynku, przed którym z uszanowaniem zdjęto nakrycia głowy, lecz tak jak umyślnie, by nie zabrakło żadnego pierwiastku do dokompletowania tej marnej parodyi politycznego czynu, dom zamieszkany przed stu laty przez Kilińskiego, dziś stał się siedliskiem bardzo niemoralnej instytucyi, ?) a zebrane w nim dziewczęta, sądząc, że to jakaś młodzieńcza zabawa i farsa, wychylały się przez okno, śmiejąc się i przesyłając całusy zebranym uczestnikom demonstracyi. Skończyło się na tem, że policya zabrała wszystkich do więzienia.

Rosyanie tak mało czują się pewni na tutejszym gruncie, że ta niemądra i smutnokomiczna przygoda, wprawiła ich w przestrach nie mały. Gdy Hurko, przebywający podówczas za granicą, dowiedział się o niej, był po prostu w rozpaczy. „Dowodzi to — rzekł — że cała moja praca w ciągu dziesięciu lat była próżną; trzeba będzie teraz wziąć się do ostatecznych środków i użyć całej surowości“ dodał po chwili. „Tembardziej, — dorzucił jeden z jego synów — że Polska jest dla nas przedmurzem Europy“. „Widać ztąd, że trzeba byście wasze przedmurze cofnęli o spory kawał dalej“, rzekł obecny tej rozmowie jeden z Polaków, lecz nie dostał na to żadnej odpowiedzi. I cały ten gwałt powstał z powodu publicznie oddanej cześci publicznemu domowi (?)

Szczególnem jest, jak często bohaterstwo łączy się w tej nieszczęśliwej Polsce ze śmiesznością. Mimowoli przyszło mi na myśl odnalezienie w nurtach Elstery zwłok księcia Józefa Poniatowskiego. Bardzo możliwie, że jenerał wyglądał w przybliżeniu tak, jak go przedstawia posąg jego, dłuta Thorwaldsena, chociaż jest tam znacznie odmłodzonym, lecz gdy odnaleziono trupa, nikt księcia poznać nie mógł. Cóż się bowiem okazało? Oto, że wszystko na nim było fałszywem, zamiast włosów miał perukę, wąsy były sztuczne, brwi starannie naklejone, a figura starannie ściśnięta gorsetem, by nie zdradzać zmienionej przez wiek postawy. Jedynie kosztowny zegarek, który zawsze nosił przy sobie, dozwolił go poznać. Oglądałem przed paru dniami zamieszkały przez niego pałacyk; zewnętrzna jego strona jest złożoną z samych prawie tajemniczych wejść i drzwi ukrytych, był to istny basza, który sobie rozrywek nie żałował, postać wielka swemi bohaterstwem i zabawna zarazem.

Gdy literaci i autorowie, co wrócili do domów, zawitają tu do nas, żaden dłużej nad jeden dzień nie da się zatrzymać na wsi, tęsknią zbyt do Warszawy, lub może do swych przyjaciółek, pomniejszych aktoreczek, zresztą gdy się ma którego z nich od soboty wieczora do poniedziałku rano, można się wszystkiego dowiedzieć, co ma tylko zajmującego do opowiedzenia. Malarze chętniej bawią na wsi, mamy więc ich obecnie czworo; trzech mężczyzn i kobietę, którzy dłuższy czas z nami spędzić zamierzają. Nie mówimy dużo przy stole, z powodu, iż służba rozumie po francuzku, dopiero przy kawie, w bibliotece, na werandzie, lub też gdy pogoda nie sprzyja w zimowym ogrodzie, gdzie ogarniają nas odurzające zapachy, jak w Zolowskiej cieplarni i gdzie nie brak nawet skóry białego niedźwiedzia, rozwiązują się języki i każdy coś opowiada z przebyt go w różnych miejscowościach lata. „Słyszeliście zapewne — mówi nam malarz N. N. (Rosen) — ile zarobiłem w ostatnich latach za rządowe obstalunki; prawda, że miałem znaczne dochody, ale nie macie wyobrażenia, ile mnie one kosztowały, Wystawiłem po raz pierwszy w Petersburgu obraz mój historyczny, przedstawiający scenę wojenną — wiecie, że innych nie maluję, — z początku bieżącego stulecia, a sam byłem podówczas w Paryżu, gdy otrzymuję telegram, bym się stawił natychmiast, gdyż wysoko położona osoba, której nie wymieniam, bo wszyscy wiecie o kim mowa, życzy sobie mię widzieć. Przybywam i dostaję 12,000 rs. za mój obraz, jakoteż obstalunek na inny, który ma przedstawiać bitwę z wojny rosyjsko-tureckiej. Miejsce danej bitwy było w Rumelii; spieszę więc tam, właściwie bez potrzeby, bo była to zwykła rozległa równina, z niewielkiemi wzgórzami w oddali na widnokręgu. Zadałem sobie przy tym obrazie dużo pracy, przyłożyłem starania i wykończywszy go wysłałem. Nowy telegram. Wysoko położona osoba jest zadowoloną z obrazu, lecz życzyłaby sobie widzieć na nim więcej wojska. Ci, co wiedzą o kim mowa, zrozumieją, iż niepodobna było nawet myśleć o przekonywaniu i proteście. Maluję więc rzecz całą na nowo, by wpakować tam więcej żołnierzy, przez co obraz traci ogromnie na wartości artystycznej. Otrzymuję nowy obstalunek; przejście Suwarowa przez Alpy. Odnosi się to do epoki, którą znam jak moje pięć palców i którą uwielbiam. Żaden szczegół i wydarzenie, żaden guzik ówczesnego munduru nie jest mi obcym. Wystudyowałem miejscowość i zabrałem się do roboty, Wymalowałem naturalnie Suwarowa na zwykłym kozackim koniu, na innym bowiem nigdy nie jeździł i zmieniał go codziennie. Koń był gniady, gdyż barwa ta najlepiej od jasnego tła odbijała. Zaledwie obraz doszedł do miejsca przeznaczenia jest znowu telegram. Życzą sobie mnie widzieć, zachodzi potrzeba zmian pewnych. Najprzód zjawia się u mnie jakiś jenerał z wizytą i zapytuje, dla czego Suworowa umieściłem na cisawym koniu, a nie na siwym wierzchowcu, jak niesie tradycya. Dla tego — odpowiadam — że tradycya jest pod tym względem fałszywą, Suwarow nie miał własnego siwego rumaka, lecz jeździł zawsze na kozackim koniu, ten zaś jest tej barwy, jaka z ogólnym tonem obrazu najlepiej harmonizuje. Naznaczają mi audencyą, nowe pytania, taż sama odpowiedź, w rezultacie zaś rozkaz, by Suwarow siedział na siwym koniu, a ja wypełniam go z konieczności, jakkolwiek wygląda to szkaradnie.

Nie dość na tem, mam malować jeszcze jeden obraz, tym razem wzięcie szturmem tureckiego szańca w 1878. Plan obrazu udał mi się, całość przedstawia się nader malowniczo; umieszczam szaniec na pierwszym planie na prawo; turbany, fezy, działa, ponad tem wszystkiem powiewające jedwabne chorągwie, zamieszanie, — dalej zaś w głębi rosyjskie wojsko w pełnym biegu pędzące do ataku. Wysyłam znów obraz i jak zwykle otrzymuję telegram, że życzą sobie mnie widzieć. Przybywam, zadowolenie ogromne, ale żądają ma się rozumieć pewnej zmiany, mianowicie: by nieszczęśliwych Turków przenieść w głąb, rosyjskie zaś wojska umieścić na pierwszym planie, czyli innemi słowy, potrzeba zupełnie nowego i odmiennego od tego obrazu. Wymalowałem i ten, dostałem zań 15,000 rs., ale niestety nie dało mi to zadowolenia, bo nie ma on żadnej wartości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Prawo kobiet i małżeństwo.

II.

„To wszystko, coby należało do męża i żony, mówi J. Stuart Mill, gdyby nie zawierali małżeństwa, zostanie pod ich wyłącznym zarządem przez czas trwania związku... Są osoby, które razi myśl separacyi majątkowej; widzą one w tem negacyę pojęcia małżeństwa, stopienia dwu istnień w jedno. Co do mnie, jestem najenergiczniejszym stronnikiem spólności dóbr, gdy ta wynika z zupełnej jedności uczuć pomiędzy właścicielami, co sprawia, iż wszystko pomiędzy niemi jest spólne. Ale nie mam najmniejszego upodobania w zasadzie, w imię której wszystko, co twoje, jest moje, ale co moje, nie jest twoje; nie chciałbym układu podobnego z nikim, chociażby miał wypaść na moją korzyść. Niesprawiedliwość tego rodzaju ucisku, który cięży na kobietach, jest powszechnie uznana: można jej zaradzić, nie dotykając nawet innych punktów kwestyi i bezwątpienia ona najpierwsza zniknie.“

Słowa znakomitego ekonomisty sprawdziły się, gdyż prawo angielskie z r. 1882 poszło za jego wskazówkami. Jeszcze przed laty dwudziestu legalnym skutkiem małżeństwa w tym kraju było: pochłonięcie osobowości żony przez osobowość męża. Przed r. 1870 prawo zwyczajowe przyznawało tam mężowi własność zupełną, bez żadnych zastrzeżeń, wszystkich rzeczy ruchomych żony. Co do majątku nieruchomego, zachowywała ona tytuł własności, ale mąż zarządzał i z dochodów korzystał. Żona pozbawiona była „osobowości cywilnej“: nie wolno jej było stawać w sądzie lub dopełniać jakiegokolwiek aktu prawnego, nawet za zgodą męża, nie mogła robić testamentu, który miałby moc prawną. Starano się do pewnego stopnia łagodzić ową przewagę mężowską, drogą np. ustanowienia oddzielnej schedy, jako wyłącznej własności żony. Bardzo atoli szczupła garstka korzystała z tego przywileju. Zarobki różnych pracownic, honorarya artystki albo autorki, nie korzystały z opieki prawa. Jak gdyby wszakże przedświtem pomyślniejszego zwrotu, jeszcze w r. 1857, był specyalny przepis w sprawie rozwodu, na którego mocy kobieta opuszczona przez męża mogła uzyskać wyrok sądu, upoważniający ją do swobodnego rozporządzenia tem wszystkiem, co nabyła od czasu, gdy się z nią mąż rozstał.

Od r. 1870 rozpoczyna się w Anglii przekształcenie prawa małżeńskiego w zakresie interesów pieniężnych. Zabezpieczono zarobek własny kobiety zamężnej. Otrzymała ona także prawo odwoływania się osobiście do sądów w sprawach dotyczących jej mienia. Nie na tem wszakże koniec. Roku 1882 wydano przepisy szersze, dotyczące majątku kobiety zamężnej *(The married Women's Property)*. Według nich mężatka może nabywać i rozporządzać majątkiem, posiadać jako własność oddzielną to mienie, którego była właścicielką w chwili zamęźcia, jak również nabyte później drogą sukcesyi darowizny, lub wreszcie jako zarobek, pochodzący z odrębnej profesyi, z pracy na polu artystycznem, literackim albo naukowem. Nadto, może ona zaciągać zobowiązania do wysokości posiadanego majątku; stawać w sądach bez towarzystwa męża: ma prawo zarządzać swem majątkiem i czerpać zeń dochody. Ciężary, wynikające z małżeństwa, podzielone są między małżonków w stosunku do środków posiadanych z osobna. Żona jednak może w każdej chwili powierzyć mężowi administracyę swego mienia, zresztą w intercyzie wolno czynić takie zastrzeżenia i zrzekania się pewnych przywilejów na stronę męża.

Jak widzimy, Anglia poszła daleko, nie sama przez się wszakże, lecz za przykładem kilku stanów unii amerykańskiej. Zdawałoby się, że reformy te powinny być wzorem, łatwym do przyjęcia w innych krajach: tymczasem dotąd widzimy w większości coraz odmienne prawa, stawiające kobietę w zupełnej zależności od męża pod względem materyalnym. We Francyi dopiero niedawno ogłoszono projekt (opracowany przez znanych profesorów wydziału prawnego w Paryżu: Jalaberta i Glassona), którego jeden z artykułów głosi: „Kiedy mąż przez lekkomyślność swoją naraża na straty mienie małżeńskie, żona może bez żądania separacyi majątkowej z upoważnienia sądu odbierać sama zarobki swoje i rozporządzać niemi swobodnie“. Jest to tylko bardzo niewyraźna dążność do reform na wzór angielskich, właściwie półśrodek, gdyż pozwala uciekać się nie do prawa jasnego, lecz do uznania sądu. To samo w razie porzucenia przez męża, którego dwie trzecie dochodów lub pensyi może być zaaresztowane na rzecz żony, jeżeli ma dzieci i jedna trzecia, jeżeli jest bezdzietną. O wiele liberalniejsze ustawy (po Anglii) posiadają w czynie: Szwecya, Dania i Norwegia, wreszcie dość śmiałe zarysy widzimy w projekcie kodeksu cywilnego Niemiec. Według niego kobieta zamężna nie jest dotknięta żadną niezdolnością, chociaż wtrącanie się męża jest potrzebne w większości wypadków, z powodu rozporządzeń, dotyczących uregulowania spraw majątkowych. Żona zatem używa swobody ograniczonej w rozporządzaniu mieniem swojem, wskutek praw, udzielonych mężowi, kiedy zachodzi spólność albo zlanie majątku. Jeżeli wszakże małżonkowie na zasadzie wzajemnej umowy zgodzą się na „separacyę majątkową“, — żona staje się zupełnie niezależną pod względem rozporządzania dobrami materyalnemi, jak gdyby nie była zamężną. Jest to więc system wolności zawarowanej umową, bardzo racyonalny, bo nie prowadzący do nadużywania przywilejów. Trzeba bowiem i to mieć na uwadze, że i kobiety bywają skłonne do trwonienia, podczas gdy powściągliwy w tej mierze mąż może być poniekąd hamulcem dla zabezpieczenia zobopólnego bytu rodziców i dzieci. Prawo cywilne newchatelskie podobne jest bardzo do projektu niemieckiego, bo tam tylko majątkowa spólność czyni kobietę niezdolną. W razie zaś zastrzeżonego rozdziału w umowie przedślubnej, żona nie potrzebuje wcale upoważnienia męża i rozporządza swobodnie majątkiem zwoim.

W zakresie praw męża i żony panują w całej Europie trzy systemy: spólności, bezspólności i separacyi majątkowej.

Wziąwszy pod uwagę ludność tej części świata, wynoszącą 360 milionów, zobaczmy, w jakim stosunku podlega ona owym kategoryom przepisów. System, oparty na spólności jakiegokolwiek rodzaju, panuje w następujących krajach: Francya (38 mil.), Belgia, Holandya, Luksemburg i kilka kantonów Szwajcaryi (12), Szwecya, Norwegia i Dania (9), znaczna część teraźniejszych Niemiec (około 30 mil.), czyli w przybliżeniu 110 milionów (80 — jeżeli potrącimy cyfrę Niemiec z powodu ich przepisów, proponowanych przez projekt kodeksu cyw.) Kraje, gdzie istnieje system bezspólności tego lub innego rodzaju, są: Część teraźniejszych Niemiec, (około 20), Austrya (27), Królestwo Polskie (8), prowincye Nadbałtyckie i większość kantonów Szwajcaryi (5) — w przybliżeniu ogółem 60 milionów (90 — jeżeli dodamy całe Niemcy z powodu przepisów projektu). Kraje, gdzie działa separacya majątkowa, czyli niezależność: Włochy (30), Rosya (z wyjątkiem tych prowincyi, gdzie porządek jest odmienny, około 80), Wielka Brytania i Irlandya (40). W przybliżeniu około 150 mil. Wreszcie kraje, w których porządek prawny nie daje się jasno rozklasyfikować; Węgry, Finlandya, państwa Bałkańskie itd., w przybliżeniu 40 milionów. A więc system niezależności obejmuje największą część liczebną ogółu w Europie. Jaki jest najlepszy? Separacya majątkowa — zdaniem Bridela — jest bez zaprzeczenia porządkiem najprostszym i najjaśniejszym dla wszystkich stron interesowanych. Jest przytem najsprawiedliwszym, „jedynym, który się liczy z prawami kobiety“.

Niezmiernie ważna jest kwestya, dotycząca prawa do spadku po spółma żonku. Nie możemy atoli zaglądać do wszelkich prawodawstw europejskich, więc poprzestaniemy tylko na rzucie porównawczym ogólnym. Według prawa kilku krajów, spółmałżonek powołany jest do sukcesyi tylko w razie, gdy niema krewnych w stopniu upoważniającym do dziedziczenia. Tak głosił francuzki kodeks cywilny, obecnie przekształcony pod tym względem. Ztamtąd ów system przeszedł do Belgii, gdzie dotąd obowiązuje, a także do części francuzkiej kantonu berneńskiego. Podobny stan rzeczy panuje w Holandyi. Ideą przewodnią tego systemu, coraz bardziej zanikającego, jest, aby majątek osoby zmarłej bez testamentu, wrócił do członków jej rodziny. Pewna liczba prawodawstw upoważnia spółmałżonka do udziału w spadku wraz z rozmaitemi kategoryami krewnych. Ma on zatem prawo do całkowitej sukcesyi tylko w braku takich krewnych. Do tej grupy należą Francya (od r. 1891) i Austrya. Anglia także — w tem, co dotyczy wdowy i majątku ruchomego; Genewa (od r. 1874), Zurych i Rosya w której spółmałżonek, pozostający przy życiu, ma prawo do siódmej części majątku nieruchomego i do czwartej ruchomego. W Rosyi przy tem istnieje prawo, według którego zstępni, dziedziczący po rodzicach *ab intestato*, otrzymują udziały swoje w następującym stosunku: „Każda córka, gdy żyją synowie, tj. siostra przy braciach, otrzymuje z całego majątku nieruchomego czternastą część, a z ruchomego ósmą. Jeżeli niema synów lub ich zstępnych, do spadku przychodzą córki tudzież ich zstępni i dzielą się między sobą według tych samych prawideł (art. 1130 i 1132 *Swodu)*. Pomimo to wszakże bracia mogą się zgodzić na równy podział z siostrami.

Następstwa jednak powyższego systemu są bardzo różne, stosownie do stopnia, w jakim się znajdują spadkobiercy. N. p. we Francyi krewny dwunastego stopnia może brać udział w spadku wraz ze spółmałżonkiem, gdy w Genewie po za ósmym już nie dziedziczy. Prawodawstwa hiszpańskie, zurychskie i bazylejskie odznaczają się jeszcze

większem ograniczeniem w tej mierze. Według innych, spółmałżonek wyłącza wszystkich krewnych, którzy nie są „najbliżsi“, wtedy nawet, gdy są jeszcze w stopniu upoważniającym do dziedziczenia. Tak jest w Prusiech, Włoszech, Saksonii i — według projektu niemieckiego. Pomijamy zresztą odcienie innych prawodawstw, ze względu na ich znaczną liczbę.

Również pod względem przywilejów władzy ojcowskiej i korzystania z dochodów dzieci, w prawodawstwach europejskich panuje wielka rozmaitość i chaos. Na uwagę zasługuje artykuł kodeksu cywilnego prowincyi Nadbałtyckich; „Jeżeli matka jest przekonana, iż wola ojca przynosi szkodę dzieciom, może się odwołać do władzy sądowej, która w tym razie powierzy jej samej wychowanie“. Paragraf ten powinien być wzorem dla innych prawodawstw. Pod względem wymierzania kary znaczna część prawników niedowierzająco traktuje kobiety: „Brak dojrzałego sądu i charakter skłonny do uniesień, dość powszechny wśród kobiet, nie pozwala tyle polegać na zdaniu matki, co ojca“ (Pothier w XVIII w.) Według Valette'a, charakter matki, często zmienny i gwałtowny, nie daje rękojmi spokojnego i zimnego oceniania rzeczy. To też w wielu prawodawstwach europejskich panuje charakterystyczna zasada: *„Tacet mater in familia“*.

W jaki sposób usunąć sprzeczności, nadać możliwie największą sprawiedliwość traktowaniu kobiety przez prawo? Bridel podaje klucz do rozwiązania tej kwestyi w szeregu następujących wniosków: 1) Wymazać z prawa: „żona winna posłuszeństwo mężowi“, zachowując zresztą zasadę, że mąż jest „głową rodziny“, póty przynajmniej, póki spełnia obowiązki, ciążące na nim względem swoich. 2) Równość w traktowaniu obojga małżonków, pod względem wierności (w dziedzinie prawa karnego i cywilnego) 3) Przyznać kobiecie zamężnej całkowitą zdolność cywilną, usuwając konieczność upoważnienia męża i wszelkie instytucye, krępujące jej swobodę działania. 4) Nadać uświęcenie prawne przepisowi kodeksu, na mocy którego mąż powinien utrzymywać swoją żonę i dzieci. 5) Przyjąć separacyę majątkową, czyli niezależność wzajemną małżonków; zasada wolności w układach małżeńskich jest zresztą uświecona przez prawo. 6) Zapewnić kobiecie zamężnej prawo swobodnego rozporządzania własnym zarobkiem. 7) Dać znaczny udział w sukcesyi pozostałemu przy życiu spółmałżonkowi, jako pierwszemu spad kobiercy. 8) Zastąpić wyrazy *władza ojcowska* przez *powaga rodzicielska*. Uznać prawa matki obok ojca. 9) Kiedy powaga rodzicielska przypadnie matce, powinna mieć te same prawa co ojciec pod względem przywilejów władzy rodzicielskiej (wychowanie, opieka, kura, prawo do dochodów i zarządu majątkiem). 10) Po śmierci ojca matka powinna być opiekunką swych małoletnich dzieci, a jej macierzyńskie prawa nie powinny być skrępowane innemi przepisami niż te, jakie się stosują do ojca w razie śmierci matki. 11) Dozwolić ażeby kobiety wogóle, zamężne lub nie, mogły być wybierane na opiekunki i członków rady familijnej. 12) Pozwolić, ażeby mogły być powoływane na świadków przy rozmaitych aktach publicznych i prywatnych.

Pewna dążność w reformie kodeksów do większych przywilejów dla kobiety, jest objawem wielce charakterystycznym, nadającym znamienne piętno warunkom bytu małżeńskiego. Potrzebuje on wzmacniania swych podstaw cementem prawnym. Kodeks reguluje stosunki ludzkie, bądź jako środek zapobiegawczy, bądź jako protest przeciwko wszelkim nadużyciom lub uciskowi. Więc i w małżeństwie tę samą rolę odgrywa. Ale nie zapominajmy, że prawo, skoro przychodzi ze swoim wyrokiem, to przymus, to antagonizm dwu stron. Tymczasem musi ono coraz częściej zaglądać do tak zwanych ognisk domowych, które miały być oparte na miłości i dobrej wierze. Rzeczywistość rozwiała złudzenie i regułę zaliczyła do wyjątków. Prawo *w małżeństwie* stało się obrońcą strony krzywdzonej, *w rodzinie* — pomocą do wydobycia kobiety z pod gruzów tradycyi i wzniesienia na stanowisko nie niewolnicy westalki, lecz kapłanki właściwej. Ci, którzy drżą o to, ażeby na skrzydłach większej swobody nie wzleciała ona ponad strzechę i komin ze szkodą własnego gniazda, niech się pocieszą, że owe przywileje mogą tylko utrwalić kobietę „w domu“ i nadać jej większe znaczenie, jako pożytecznej kierowniczce latorośli społecznych.

Zenon Pietkiewicz.



REZOLUCYE.

Z prośbą o zamieszczenie odbieramy pismo następujące:

Zgromadzeni prezesi towarzystw katolicko-polskich w Westfalii i Nadrenii oświadczają, co następuje:

I. Dotychczasowy porządek w towarzystwach katolicko-polskich, zaprowadzony w porozumieniu z duchowieństwem, uznajemy za dobry. Dla tego nie życzymy sobie żadnych zmian, ani w ustawach, ani w zwyczajach. Nie utworzymy też ani związku towarzystw, ani też nie wybierzymy ani nie uznamy generalnego prezesa wszystkich towarzystw.

II. Nasze towarzystwa są *na wskroś katolickie* i dla tego miło nam jest, iż miejscowe duchowieństwo troszczy się o nas i czuwa, abyśmy na krok od zasad katolickich nie odstąpili. O ile w towarzystwach chodzi o sprawy *czysto-religijne*, o tyle przyrzekamy duchowieństwu bezwzględną uległość. Pod każdym innym względem wszakże zastrzegamy sobie najzupełniejszą swobodę i niezależność działania. Tej swobody i niezależności nie wyrzekniemy się za żadną cenę, a groźby lub przeszkody również nie skłonią nas do ustępstwa. *Przedewszystkiem czuwać będziemy, aby nietylko katolicki, lecz także w równej mierze polski charakter naszych towarzystw tak, jak dotąd, wyraźnie był zastrzeżony. Towarzystwa nasze mają pozostać po wszystkie czasy katolicko-polskiemi.*

III. Uznajemy, że duchowieństwu świeckiemu i Ojcom Franciszkanom należą się rządy w kościele. Oświadczamy, że w kościele i w sprawach *czysto-kościelnych* najzupełniej będziemy duchowieństwu ulegali i w ogóle pragniemy z duchowieństwem żyć w zgodzie. Ponieważ z powodu składek zbieranych przed kościołami na Świętojózafacie“ powstały różne nieporozumienia i walki, przeto postanawiamy w przyszłości składek na cel powyższy przed kościołami nie zbierać. Natomiast będziemy agitowali, aby Rodacy ustanowione przez ks. dr. Lissa „Świętojózafacie“ w Bochum popierali w przekonaniu, że ta instytucya jest nam równie potrzebna, jak naszym Rodakom w Polsce, Towarzystwa pomocy naukowej w Poznaniu, Chełmnie, Bytomiu i Raciborzu, a zarazem wiedząc, że *dawać pieniądze własne* wolno nam każdemu.

IV. Postanawiamy gorliwie popierać wszystkie pisma katolicko-polskie, które bronią nas przed niewiarą, socyalizmem i germanizacyą, a przedewszystkiem „Wiarusa Polskiego“ jako pismo wyłącznie dla nas założone i szczerze nam służące.

V. Wszystkich Rodaków prosimy gorąco, aby zaniechali kłótni i sporów. Nieporozumienia, jakie wynikły wśród nas, puśćmy w niepamięć, bo one nam tylko szkodę i wstyd przynoszą.

Bochum, 27 października 1895.

Tu następują podpisy.



Wolne głosy.

Wojna z kobietami.

„Kuryer poznański“ w artykule p. t. „Aspiracye kobiece w naszem społeczeństwie“ wypowiedział wojnę kobietom, a raczej młodszej generacyi poznańskich „pań i panienek“, wśród których zanosi się na coś „arcy niezdrowego“. Jeśli słuszna wierzyć „Kuryerowi“ „zły duch podszeptuje im z boku“, aby zwoływały „jakieś walne zebrania, protesty przeciwko władzy, którą same sobie niedawno wybrały“ — a wszystko jest tylko „mąceniem wody“, odwodzącem Wielkopolanki od „wzniosłego celu, który sobie postawiły“.

„To są zdrożne aspiracye — mówi wreszcie, — a obowiązkiem społeczeństwa stłumić je w zarodzie“.

Mamy tu więc formalny akt oskarżenia wraz z szumnym finałem: pobudką, wzywającą całe społeczeństwo do walki ze „zdrożnemi aspiracyami kobiecemi“.

Na miłość boską, lube Wielkopolanki, cóżeście uczyniły?

Czy wypowiedziałyście otwartą wojnę rodowi męzkiemu i zamierzacie wyprzeć go ze wszystkich uzurpowanych dotychczas stanowisk i urzędów, — począwszy od osadzenia naczelnej prezydentki na miejsce naczelnego prezesa, a skończywszy na zainstalowaniu kobiecych piór w sacrosanctum dziennikarstwa naszego: redakcyi „Kuryera poznańskiego“? Czy może na walnym wiecu niewieścim zapadła uchwała, aby odtąd żadna z młodszych pań i panienek za mąż nie wyszła i dzieci nie niańczyła? A może gorszej jeszcze dopuściłyście się zbrodni — może na środku Wilhelmowskiego placu zamierzacie zbudować uniwersytet kobiecy ku wiecznemu pognębieniu różnych X. X. lub Domaratów, dla których z początkiem studyów naukowych dla kobiet kończy się świat, a raczej wszystko, co na świecie świętem i czcigodnem było, tj. pleśń, zgnilizna i szara odwieczna pajęczyna?

Jeśli to wszystko nieprawda, to jednak musiały zajść w społeczeństwie kobiet wielkopolskich jakieś przerażające objawy, jakie symptomaty „przewrotnych“ dążeń, musiały się wśród niego ukazać warchołki, masonki, czy burzycielki, kiedy „Kuryer“ w tak wielkie dzwony alarmowe uderzył.

Nic z tego. Oto jak się rzeczy miały: Kobiety wielkopolskie zapragnęły uczcić X. kardynała Ledóchowskiego w roku jego jubileuszu. — W tym celu zwołano parę zebrań, na których proponowano zrazu złożyć mu podarek, ponieważ jednak propozycya ta upadła, uchwalono zbieranie składek na fundusz im. kardynała Ledóchowskiego, pozostawiając do dalszej uchwały cel i przeznaczenie dokładne tego funduszu, nie wiedząc zrazu, jaką sumę zebrać się uda. Sądziły one bardzo słusznie, iż zasłużonego człowieka uczczą najlepiej, najwdzięczniejszy hołd mu złożą, jeżeli rok jego jubileuszu zaznaczą pięknym, patryotycznym czynem, jego pamięci poświęconym. Uwiecznienie nazwiska ks. kardynała funduszem, któryby trwale wspierał szlachetne dążenia narodu, z którego płynęłyby dobrodziejstwa na tak bardzo biedne społeczeństwo, jest zarazem najwyższym i najcenniejszym objawem czci — a nie wątpię, że najmilszym dla serca dobrego pasterza.

„Kuryer Pozn.“ jest widocznie źle poinformowany; nie wie, że celem składek było zbieranie funduszu *im. ks. Ledóchowskiego*, a złudzony błędnie notowaną rubryką składek w pismach sądzi, iż chodziło zawsze *o dar jubileuszowy*. Nie przypuszczamy jednak, aby sympatye jego były po stronie pierwszego projektu. Czyż album, serwis, złota tabakierka, piękny dywan lub ornat — lepiej świadczyć by miały o przywiązaniu dyecezyanek niż — czyn dobry?

Zbieraniem składek zajęto się gorliwie i dziś, po trzech miesiącach suma ich wynosi 6031 mk. Radość Wielkopolanek była wielka, — gdy w tem do uszu owej „niezdrowej“ młodszej generacyi pań i panienek doszła wieść, że komitet nosi się z myślą poświęcenia tych pieniędzy na kształcenie w Rzymie jednego z młodszych księży.

Zaprawdę nietrudno zrozumieć ich goryczy i rozczarowania. Któż, prócz owego młodego kandydata podróży do Rzymu mógł się entuzyazmować dla takiego celu? Cóż na spełnieniu zamiaru zyska społeczeństwo? Gdzież to powiedziano, że ksiądz w Rzymie kształcony ma być gorliwszym kapłanem niż ci, którzy u nas swe obowiązki pełnią? Gdzież, w jakim katechizmie zapisano, że sakramenta udzielane przez polskiego księdza większe mają znaczenie, a kazania większy wpływ wywierają? A jeżeli chodzi o przyjemność dla ks. kardynała, któż przypuszczać może, że mieszkając w Rzymie, będąc tak blizko Watykanu, tęskni za młodymi księżmi i ucieszy się bardzo, gdy jeden więcej z Polski przybędzie? Taki podarunek z „jednego“ księdza, to zresztą dar wielce wątpliwy — i nikt za niego gwarantować nie może. A nuż się edukacya nie uda? Nuż taki jubileuszowy ksiądz zamiast chluby, zawód księdzu kardynałowi przyniesie?

Nie można się więc dziwić, że ten niefortunny pomysł zaalarmował składkujące panie i panienki — że zapragnęły zwołać walne zebranie i zainterpelować komitet, którego nieomylności „Kuryer“ jeszcze nie był ogłosił podówczas.

Nawiasem dodam, że wybranie komitetu nie znaczy tyle, co zdanie się na jego łaskę i niełaskę. Komitetowi nie polecono *decydować* o przeznaczeniu składek, lecz *zorganizować* ich zbieranie. — Żaden zresztą zarząd nie jest absolutną *władzą* nad walnem zebraniem, lecz każdy jest przed walnem zebraniem odpowiedzialny, przez nie mianowany i przez nie też odwołany być może.

W ostatnich tygodniach czytałam w „Kuryerze Pozn.“ głębokie zdanie: „idee są to baccyle“.

„Niezdrowe“ umysły pań i panienek zaatakowane zostały przez „baccyle“ dobra publicznego i powzięły chęć wsparcia funduszem im. kard. Ledóchowskiego jednej z istniejących instytucyi, np. „Tow. pom. nauk. dla dziewcząt“. — Wątpię, aby ks. kard. protestował przeciw temu postanowieniu lub czuł się niem dotknięty. Łatwiej jednak zadowolić czcigodnego jubilata niż nieubłaganą redakcyą. — Postanowienie to nazywa ona „mąceniem wody“, odstąpieniem od „wzniosłego celu“, jaki sobie wytknęły „młodsze“ kobiety.

A zatem wysłanie księdza do Rzymu jest celem wzniosłym — wspieranie biednych dziewcząt pragnących uczyć się i pracować — „mąceniem wody“.

„Boże, ty to słyszysz i nie grzmisz? — wołam z nieocenionym Zagłobą.

Pocieszcie się, Wielkopolanki moje, pocieszcie się, wy z szlachetniejszego kruszczu! anatema „Kuryerowe“ nikomu jeszcze na złe nie wyszły. Oddawna już kują w redakcyi przy św. Marcinie gromy i pioruny na wszelkich „młodzików“ z opozycyi, na nowiniarzy, masonów, warchołów, burzycieli, a żadnemu z nich włos z głowy nie spadł w skutek tego. Miotanie się „poważnej“ redakcyi, nadużywanie broni najgrubszego kalibru do zabijania najniewinniejszej muchy, wzywanie pomsty niebios na lada głosik krytyki samodzielnej, to bardzo pospolite symptomaty bezsilnego gniewu i duchowej niemocy. Bądźcie przekonane, że „Kuryer“ o wiele prędzej wyczerpnie arsenał swych średniowieczczyzną cuchnących pocisków, niż wy zapas dobrej woli, energii i sił młodych, które dla dobra społeczeństwa poświęcić pragniecie.

Na zakończenie jednak pozwólcie, iż dam wam dobrą radę na doświadczeniu opartą. Nie rozpoczynajcie nigdy zbierania żadnych składek, zanim ich przeznaczenie *dokładnie i jasno* określonem nie będzie; gdy zaś są zebrane, pilnujcie gorliwie, aby wedle pierwotnego postanowienia użyte zostały. Wtedy i tylko wtedy możecie mieć pewność, że praca wasza i trud nie poszły na marne, że czas wasz dobrze został użyty, że sił nie strwoniłyście bezskutecznie. W społeczeństwie tak biednem, tyle mającem potrzeb niezaspokojonych jak nasze — nie wystarczają ofiary materyalne i praca; trzeba, aby praca była użyteczną a ofiara istotne przynosiła korzyści.

J. Moszczeńska.

Na Wyłomie.

(Pod adresem Wielkopolanek. — Anakreon w przekładzie Ludwika Mizerskiego. — Liście figowe.)

Ze stron najrozmaitszych odbieram listowne wezwania, aby zabrać głos w sprawie „młodszej generacyi Wielkopolanek“, których społeczno-narodowa działalność jest solą w oku rozmaitym zwolennikom robienia pończoch, smażenia konfitur i niańczenia dzieci. Całej tej gromadzie przerażonej tak niespodziewanym ruchem kobiecym w krainie snu, bigoteryi i bajczarstwa odpowiada w innej rubryce jedna ze stałych współpracowniczek „Przeglądu“ — mnie zatem nie wypada nic innego, jak wzorem rozmaitych uczonych z „Towarzystwa przyjaciół nauk“ powiedzieć z słodkim uśmiechem: *„Chciałem tylko oświadczyć“*, że zgadzam się *w zupełności* na zdanie preopinanta“. Nie wątpię też ani chwili, że dzienniki zanotują moje nazwisko i mój „żywy“ udział w poważnej dyskusyi, a potomność, którą w ten sposób pewne naczynia poznańskiej mądrości informują o egzystencyi swojej, dowie się i o mnie.

Jedno tylko ośmielę się dorzucić słowo. Jest w tym narodowym i społecznym ruchu kobiecym na poznańskim gruncie jakaś otucha serdeczna i jakiś prąd świeży, — niby otwarcie okna w dusznej, od lat kilkunastu nie wietrzonej ciemnicy. Nie minął jeszcze rok i połowa od owej chwili, gdy redakcya nasza uderzyła w szybę, wołając: „Otwórzcie! Tam za oknem jest słońce i błękit i zapachy kwiatów, kobiecą siejbę.“ Odpowiedziano nam przekleństwem i gradem kamieni, ale jeden z pocisków trafił w szybę zapyloną, i słońce zajrzało do tej mrocznej klatki i rozproszył duszność zdrowy powiew wiatru.

Ruch ten, Wielkopolanki młode, jest waszą zasługą. My zapukaliśmy tylko do furty, zamykającej nagromadzone zapasy energii, wy rozsadziłyście ciasne obręcze, — naszem było słowo, waszym jest czyn. Nowe to życie dotychczas w ciasnem jeszcze płynie korycie i jeszcze brak rutyny gdzieniegdzie plącze mu nogi, ale bądź co bądź coś się wyłamuje, coś myśleć zaczyna samoistnie i praca szersze obejmuje kręgi. Szkoda byłoby zaiste, gdy kwiat rozkwitający tak pięknie zważyć miał szron gazeciarski. Zakładając czytelnie wasze i urządzając zebrania nie prosiłyście w kumotry „Kuryera Poznańskiego“, ztąd gromy i przekleństwa spadają i spadać będą na głowy wasze. Jeżeli pragniecie komplimentów, idźcie i klęknąwszy u bram redakcyjnych wołajcie potulnie: „Panie! sługi twoje czekają w pokorze. Mów co czynić mamy, a każde słowo będzie ewangelią.“ Wtedy usłyszycie „zdrowie dam“, opowiadania o „kapłankach domowego ogniska“, o wyższości Wielkopolanek nad wszystkiemi kobietami ziemi i Jowisza, o powadze i dojrzałości naszych żon, sióstr i córek, no! i dziesięć tysięcy podobnych duserów. Jeżeli karmelki życie wam zapełnić mogą, — idźcie do Canossy. Tu praca trudna i laur trudniej zdobyć, — cyt! ktoś zawołał: „Takich my pragniemy!“

A gdy już mowa o laurach, tych ulubionych liściach wszystkich orłów i rozszczebiotanych szczygłów literackich, niechaj mi wolno będzie choć skromną plecionką uwieńczyć skronie jednego z poznańskich autorów. Pan Ludwik Mizerski złożył na stole naszym nowy wiązarek liryczny w formie przekładów Anakreonta, wyśpiewanych, jak mówi przedmowa, hen! daleko i dawno za czasów wojny francuzkiej, a dziś dopiero drukiem ogłoszonych. Mizerski? Za granicami księstwa mało kto słyszał o nazwisku poety, kryjącym starannie utwory swoje maską anonimu. Na poznańskim bruku jednak feljetony i wierszyki „konsystorskiego radcy“, wyśpiewane w chwilach wolnych od biurowej pracy, cieszyły się swojego czasu zasłużonym rozgłosem dowcipu i elegancyi. Zamilkł potem na długo ten autor i po latach kilkunastu dopiero, gdy wraz z Anaktreonem mówiły mu hoże dziewczęta:

„Piewco tyś już dziadkiem teraz!
Spojrzyj tylko do strumyka,
Patrz jak włos ci z głowy znika,
I jak świecić już zaczyna
Biała, godna czci łysina.“

wtedy dopiero otworzył zamki biurka swojego i dwa młodzieńcze utwory rzucił na półki księgarskie. Trzy lata temu ukazało się epos olbrzymie w dziesięciu pieśniach p. t. „Syrena“. Niech mi pan Mizerski wybaczy, ale gdybym był Odyseuszem, tobym się do masztu przywiązać nie kazał, bo ta książkowa „Syrena“ jego nie przyprawiła mnie ani na chwilę o zawrót głowy. Nie znaczy to bynajmniej, aby nie miała żadnych zalet „fizycznych i duchowych“, — przeciwnie, mówi gładkim wierszem, niekiedy nawet dosyć obrazowo, niekiedy ślicznie się rozmarzy, niekiedy wesoło zaszczebioce, ale przy dłuższem obcowaniu traci swój urok w potoku banalności i prozaicznego rymowania. Syreny tak często łudzą. Uśmiech rozkoszny i niebo w spojrzeniu, lecz na ustach farba, w oku atropina.

Być zatem może, że i te dziewczyny, o których Anakreon śpiewa, a p. Mizerski w niesfałszowanych przekładach po raz wtóry ludziom prezentuje, — te „Syryi i Libii córy gorące“, te kwiaty młode, uszczknięte w Koryncie, na Lesbos i Krecie, miały fałsz w źrenicach i kłamstwo na wargach, ale któryż kochanek tak „syrenim“ głosem nucił bóstwom swoim?! Jak ta rozkosz dyszy w czarodziejskich strofach, jakie wonie myrt i nardu biją z tych ciał bieluteńkich, jaka świeżość, wiosna i szał!

Ej! mistrzu pędzla jedyny!
Perło rodyjskich malarzy!
Zróbże mi portret dziewczyny,
Zrób, lubo nie znasz jej twarzy!

Ja ci opiszę jej wdzięki,
Ty im koloryt daj żywy,

Ot! niechaj najpierw ma miękki
Włos kruczy i połyskliwy.

. . . .

Na gors jej Charyt puść grono,
Poniżej jej cudne ciało
Osłoń gazą tak, by łono
Jak za mgłą tylko widniało.

A czasem śmiech dziecięcy bije z tych pieśni i w słoneczne uśmiechy stroją się strofy, a czasem róża zapachnie:

Kiedy z czaszki niebios pana,
Krwawym bojom rada,
Wystrzeliła w spiż ubrana
Atena Pallada,
Wtedy ziemia, chcąc, by troje
Cudów wstrząsło światem,
Ozdobiła łono swoje
Czarodziejskim kwiatem.
I wykwitła róża śliczna,
Jak śnieg górski biała,
A drużyna bogów liczna
W głos ją podziwiała.
I listeczki jej w purpurze
Maczała nektaru,
Tak powstały wonne róże —
Girlandy pucharu.

Anakreon ślicznie śpiewa, Mizerski zgrabnie tłomaczy. Są w tych przekładach prawdziwe perełki artyzmu, jest tchnienie greckiej pogody — no! i są nawet listki figowe w postaci całych rzędów kropek żałobnych. Szkoda, że tłomacz nie zapomniał na chwilę o tytule swoim „radzcy konsystorza“, uznając za stósowne amputować śpiewaka Hellady nawet na stronnicach poważnych roczników „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“. A może amputacyi dokonali inni. Toż „Chmury“ Arystofanesa w doskonałym przekładzie prof. Mottego nie uzyskały tam gościnności ze względu na „sprosność“ tego arcydzieła greckiej komedyi. O! my w dziełach sztuki uznajemy tylko — figę. Gdy grupa Perseusza i Andromedy stanęła na placu Królewskim, ostrzegał jeden z dzienników poznańskich matrony polskie, aby broń Boże! nie wodziły córek swoich na miejsce bezwstydu. A gdy jedna z poetek wielkopolskich tłomaczyła „Rolę“ Musseta, najpotężniejsze strofy w kropki zamieniła.

A teatr... teatr... ty chirurgu wielki! My zaiste podobni jesteśmy do owego filistra, który odziedziczywszy po zmarłym kuzynie dwie rzeźby klasyczne, natychmiast Wenerę w fartuszek a tańczącego Bachusa w spodzienki ustroił. I spoglądały te bóstwa greckie, zaklęte w marmur mistrzów geniuszem, na gawiedź z Psiej Wolki i Pacanowa i pięknem swojem żebrały litości. Na szczytach Olimpu załamał ręce Apollo. Lecz filistrzy prawili długie kazania o grzesznem ciele, z którego wszystko złe pochodzi, o niemoralnych poganach, którzy nagie kobiety rzeźbili, o zwycięztwie ducha i czystości obyczajów. A potem poszli na rynek, ciągnęli lichwiarskie zyski z bliźnich swoich, fałszem malowali na czarno przyjaciół, kłaniali się głęboko przed figurą świętych i po spożyciu odpowiedniej porcyi piwa i wódki, leżąc pod stołem, zaświadczyli człowieczeństwo swoje. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

* *Nowe pismo.* We Lwowie zacznie niebawem wychodzić dwutygodnik, poświęcony sprawom kobiecym p. t. *„Ognisko“.* Naczelna redaktorka pani Reinschmid-Kuczalska postanowiła skierować baczną uwagę na zabór pruski i w tym celu zaangażowała już do współpracownictwa odpowiednie siły w mieście Poznaniu.

* *Odczyt.* W ubiegłym tygodniu odczytał współpracownik nasz, pan *Marchlewski* z Zurychu, na posiedzeniu wydziału prawniczo-ekonomicznego Towarzystwa „Przyj. Nauk“ w Poznaniu nader interesującą rozprawę „o bimetaliźmie“. Odczyt ten ze względu na staranność i wszechstronność opracowania oraz mnóstwo bystrych i głębokich poglądów na ewolucyą społeczną, był istotnie w dziejach Towarzystwa naszego jednym z piękniejszych momentów.

Wyłuszczywszy, na czem polega bimetaliczny system, prelegent wykazywał bezpodstawność twierdzenia, jakoby dewalwacya srebra nastąpiła jedynie wskutek zamknięcia mennic dla tego metalu. Przyznając, że wprowadzenie złotej waluty w Niemczech mogło po części oddziaływać w tym kierunku, dowodził, że główną i ostateczną przyczyną były warunki produkcyi. W związku z tą kwestyą jest twierdzenie, że złota na przyszłość nie starczy. Zdaniu temu zaprzeczył prelegent, opierając się na fakcie, że ilość produkcyi zależy przedewszystkiem od ekonomicznych warunków, w jakich się ona odbywa. Główny nacisk prelegent kładł na społeczną stronę kwestyi, wykazując, że zaprowadzenie bimetalizmu pociągnie za sobą chwilowy wzrost cen, płaca robocza jednakże nie wzrośnie w tym samym stosunku, a przynajmniej nie zaraz, a więc pogorszenie położenia klas pracujących będzie pierwszym nieuniknionym skutkiem takiego kroku. Nadzieje zaś rolników na wzrost cen zboża, nie sprawdzą się, jak sądzi prelegent.

Jeżeli bimetalizm jest tak żywotnym, to można to tłomaczyć tylko ogólną depresyą w rolnictwie: właściciele ziemscy widząc zagrozony swój byt, chętnie poddają się podszeptom bimetalistów, których prelegent porównywał do znachorów, posiadających zawsze uniwersalny środek na wszelkie dolegliwości. Za szkodliwe jednakże należy uważać dążenie, które na pogorszeniu położenia ludu chce budować ratunek chwilowy (bo stałym być nie może jednej klasy. Dla tego autor zakończył rozprawę swoją sentencyą Skargi: „To złodziejskie serce, co ze szkodą innych chce być bogate.“

* *Pamiętnik Julijana Bartoszewicza.* Po znakomitym historyku pozostały pisane w dwóch odstępach czasu pamiętniki. Pierwsza ich część pochodzi z lat młodych i nosi cechę wspomnień czysto osobistych, ztąd jest przeważnie pamiątką dla rodziny i materyałem do życiorysu autora. Druga część, pisana w ostatnich latach życia historyka, ma tło szersze. Jest to rodzaj dziennika, w którym Bartoszewicz zapisywał nietylko swoje wrażenia, ale wszystko, co przynosiło życie społeczne, towarzyskie i literackie Warszawy. Są więc w tym dzienniku charakterystyki ludzi, szczegóły, tyczące się instytucyi naukowych, literatury, dziennikarstwa, stosunków społecznych itd. Syn historyka ociągał się z wydaniem tego dziennika ze względów łatwo zrozumiałych. Bartoszewicz znany był, jako weredyk, nie ukrywał nigdy tego, co myślał, i miał odwagę niezwykłą wypowiadać w oczy swoje sądy o ludziach. Nic więc dziwnego, że w pamiętnikach jego znajdowało się wiele ustępów „drażliwych“, tyczących się ludzi żyjących i zajmujących poważne stanowiska. Ponieważ jednak d. 5 listopada rb. upływa 25 lat od śmierci historyka, p. Bartoszewicz nie czuje się już krępowanym i zajmuje się przygotowaniem do druku pamiętników ojca,

KRONIKA POWSZECHNA.

— Wiadomości społeczne i polityczne. Najbliższej sesyi parlamentu niemieckiego przedłożony ma być projekt, na mocy którego kompetencya sądów będzie znacznie rozszerzona. — Zwycięstwo posła naszego w pszczyńsko-rybnickim okręgu wywołało popłoch nielada w organach stronnictwa centrum. Niektóre pisma zarzucają komitetowi miejscowemu fałszywą taktykę i brak energii. — W cesarskim urzędzie pocztowym zastanawiają się obecnie nad tem, w jaki sposób ustawę o święceniu niedzieli dałoby się zastosować dla urzędników pocztowych. W tym celu mają otrzymać naddyrekcye pocztowe polecenie, aby w niedzielę i święta pracę o ile możności jak najwięcej ograniczyły. Naturalnie pozostawionem to będzie odnośnym dyrekcyom, aby uwzględniły potrzeby poszczególnych miejscowości. — W Moskwie odbyły się liczne aresztowania wśród młodzieży uniwersyteckiej. — Zaburzenia w Turcyi trwają bezustannie. Armeńczycy kryją się po lasach i górach, lub szukają przytułku w poselstwach europejskich. Rafinowane okrucieństwa i masowe morderstwa są na porządku dziennym.

Teatr i muzyka. W ubiegłą sobotę odegrano na poznańskiej scenie nową jednoaktówkę Z. Przybylskiego p. t. „Fotografia Jędrusia“. Poważnione małżeństwo łączy fotografia umarłego dziecka, — oto treść utworu, zawierającego charakterystykę wyrazistą i kilka rzewnych momentów. Z artystów występujących w tym drobiazgu scenicznym wyróżnili się p. p. Nowacki i Grabowiecki. Oprócz wyżej wzmiankowanej jednoaktówki odegrano w sobotę „Teatr amatorski“ Bałuckiego i „Bzy kwitną“ Przybylskiego. W pierwszym utworze odznaczył się grą mistrzowską p. Królikowski w roli podtatusiałego konkurenta, — w drugim zjednał sobie szczere uznanie p. Wostrowski grą pełną poezyi i uczucia. — W najbliższy czwartek ukaże się na benefis p. Jakubowskiego „Balladyna“, nie grana już od lat wielu na poznańskiej scenie. Rolę tytułową odegra p. Paszkowska, rolę Aliny objęła p. Majdrowiczowa, a Goplanę odtworzy p. Vernon. Przekonani jesteśmy, że przez wzgląd na utalentowanego beneficyanta i piękny utwór mistrza naszego, publiczność wypełni teatr aż do ostatniego miejsca. — Hildebrandta dramat alegoryczny „Mistrzowie Palmiry“ znalazł powodzenie w Wejmarze. — W teatrze Manzoni w Weronie powierzono kapelmistrzostwo kobiecie: signorze Ricchi. — W teatrze lwowskim wystawiono zręczną jednoaktówkę francuzką p. t. „Pierwsza łza“ i prześliczną komedyjkę Gustawa Droza: „Męki Tantala“, — Na scenie warszawskiego teatru Rozmaitości ukaże się niebawem jednoaktowy dramat Daudeta p. t. „Starszy brat“. — W hiszpańskich teatrach zyskała znaczne powodzenie opera Bretona i Felin y Codina p. t. „La Dolores“.

Odpowiedzi Redakcyi.

J. Z. w Zürychu. Artykuł Pański o uniwersytetach ludowych zamieścimy w najbliższym numerze. Z łaskawie nadesłanych nowel korzystać chwilowo nie możemy dla braku miejsca.

Tr. Wątpimy aby Pan na rozprawę tego rodzaju znalazł nakładcę wśród księgarzy poznańskich. Radzimy zgłosić się do kasy Mianowskiego w Warszawie lub przedstawić pracę do zamieszczenia w roczniku poznańskiego Tow. Przyj. Nauk.

Składki.

Na fun dusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli za pośrednictwem p. mec. **Radziszewskiego** z Ostrzeszowa: pp. ks. Sz. i ks. G.; Br.; J. D.; Dr. J.; W. G.; W. M.; S. R. i M. S.: razem **15,70 Mk.** — Ogółem zebraliśmy dotychczas **784,60 Mk.**

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za redakcyą odpowiedzialny Dr. Wł. Rabski w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 45. Poznań, Niedziela 10-go listopada 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22. II p. **Administracya:** Piekary nr. 6. **Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Polityka szląska.

Reakcya przeciwko oficyalnym kandydatom partyi centrowej, która w ostatnich czasach zapanowała wśród górnoszląskich wyborców, wyraźny składa dowód, jak uciążliwym jest dla polskiego ludu na Szlązku sojusz jego z centrum. Szląski ruch ludowy nie uświadomił sobie jeszcze dość jasno swych zadań politycznych, jest on dziś jeszcze niemal odruchem tylko niezadowolonych z istniejącego stanu rzeczy mas wyborczych. Lecz właśnie w tej jego żywiołowości tkwi największa jego *„raison d'être“*. Nie jest on bowiem skutkiem mniej lub więcej zręcznej agitacyi lub propagandy niewielkiego grona ludzi, lecz prawdziwą potrzebą, mającą źródło swe w podstawowych uczuciach szerokich warstw ludowych. Korespondenci „Przeglądu Poznańskiego“ dali już naszym czytelnikom aż nadto przykładów, jak owe uczucia narodowościowe szląskiego ludu gwałcone są na każdym kroku przez stronnictwo centrum, — byśmy je mieli na nowo przeliczać. Zadowolnimy się tu tylko wyprowadzeniem z nich ogólnego wniosku: *Stronnictwo centrum jest partyą niemiecką. Kierownictwo jego leży w ręku warstw uprzywilejowanych, lub duchowieństwa, które wskutek swego społecznego i kulturalnego stanowiska największą z temi warstwami czuje łączność. A jako takie, musi stronnictwo centrowe z konieczności rzeczy hołdować zasadom germanizacyjnym.* Charakterystyczną bowiem cechą nowoczesnej naszej cywilizacyi jest dążność poszczególnych grup kulturalnych do możliwego rozszerania się po za właściwe granice narodowościowe, do podbijania pod swe panowanie słabszych kultur. Wiek dzisiejszy, to wiek germanizacyi, rusyfikacyi, madyaryzacyi itd. I wszystkie te warstwy społeczne, stojące u steru cywilizacyjnego życia, muszą z fatalną koniecznością streszczać w sobie owe zaborcze tendencye ducha ludzkiego. Inaczej bowiem nie byłyby sobą. Choć więc rozliczne partye uprzywilejowanych klas niemieckich różnią się w swych poglądach na metodę germanizacyi, przyczem jedne z nich domagają się surowych repressalii, inne znów żądają łagodniejszych środków, nie mniej przeto w głębi serca wszystkie one dążą do wynarodowienia Polaków, wchodzących w skład niemieckiego państwa.

Wyborcy polscy na Szląsku zrozumieli to dziś pomękąd. Światlejsza przynajmniej i samodzielniejsza ich część przestała już wierzyć pozornie nam przychylnym frazesom przywódzców partyi centrowej.

Mniejszą natomiast zwrócono uwagę na ów społeczny rozdźwięk, co również zasadniczo różni ludność górnoszląską od dotychczasowego jej politycznego sojusznika. W skład partyi centrum wchodzą wszystkie niemal klasy i stany, poczynając od najwyższej arystokracyi, a kończąc na najniższych warstwach robotniczych. A wobec tego społeczno-polityczny jej program musi być aglomeratem najprzeróżniejszych tendencyi. Zawiera on obok niektórych skrajnie postępowych i demokratycznych żądań, wyraźnie reakcyjne aspiracye. I wszystkie te, nieraz wręcz sobie przeciwne kierunki, nie łączą się bynajmniej w jakąś jednolitą organiczną całość, lecz zależnie od chwilowego zbiegu okoliczności ustanawia się między niemi czasowy *„modus vivendi“*, przyczem to jedne, to drugie wysuwają się na plan pierwszy. Poprzednio, za czasów walki kulturnej wspólny interes religijny łączył różnorodne te żywioły i tylko dzięki niemu, nie rozpadło się centrum na swe składowe części przy lada konflikcie rozlicznych ich interesów. Dziś miejsce jego zajęła inercya polityczna, autorytet, którym się dawni przywódzcy cieszą, wreszcie wspomnienia wspólnych cierpień i bojów. Oczywiście, są to nieraz potężne nawet bardzo czynniki społecznego życia, z któremi należy się poważnie rachować. Niemniej przeto pozostaje pewnikiem, setki razy stwierdzonym przez dzieje, że ostatecznie decydującym motywem społecznej działalności narodów i ich poszczególnych grup, są interesa bieżące, że tradycya musi zawsze ustąpić wymogom dnia dzisiejszego.

Tymczasem interes stosunkowo jednolitej pod względem społecznym, bo składającej się z samej niemal klasy robotniczej i chłopów, górnoszląskiej ludności polskiej, wymaga również jednolitszego programu społecznego. Nie da się co prawda zaprzeczyć, że między włościaństwem a proletaryatem miejskim istnieją poważne różnice. Są one wszakżeż znacznie mniejsze, niż te, które dzielą chłopstwo od większej własności ziemskiej lub proletaryatu od burżuazyi. Włościanie, drobne mieszczaństwo i robotnicy — to klasy ludowe. Stanowią one wszędzie główne podwaliny demokratycznych prądów, i jako takie są naturalnymi swymi sojusznikami w początkach rozwoju samodzielnej politycznej ich myśli. Gdy zaś stopniowe różniczkowanie się społeczeństwa doprowadzi obóz demokratyczny do rozpadnięcia się na odrębną partyę proletaryatu i partyę chłopską, to i wtedy pozostaje jeszcze cała masa wspólnych obu tym klasom punktów, przedewszystkiem zaś wszystkie te żądania czysto politycznych swobód, które wypełniają właściwy program demokratyczny. *Wyraźny więc, niczem nie maskowany demokratyzm jest historyczną koniecznością na Górnym Szląsku. Sojusz jednak tamecznej polskiej ludności z partyą centrum nie pozwala mu się dostatecznie rozwinąć i paczy go bezustannie.*

Charakterystyczną powyższego ilustracyą jest „Katolik“ ze swym dodatkiem „Pracą“. „Katolik“, występujący od niepamiętnych czasów jako główny przedstawiciel centrum na Górnym Szląsku musi i dziś jeszcze mniej lub więcej stosować się do nastroju, panującego w reprezentowanem przez siebie stronnictwie. Wymija on też starannie wszystkie drażliwsze kwestye społeczne, zbywa je najczęściej ogólnikami, a nawet milczeniem, co najwyżej zaś streszcza przemówienia najpopularniejszych posłów centrowych. „Praca“ natomiast jest czysto lokalnem pisemkiem. Jako taka stara się ona możliwie odpowiedzieć wymaganiom miejscowej ludności. Jest więc demagogiczna *„à outrance“*. Tonem swym, epitetami, którémi traktuje pracodawców, a nawet niektóremi poszczególnemi hasłami licytuje ona formalnie „Gazetę Robotniczą“. Jeśli tylko które z żądań, wystawionych przez polską partyę socyalistyczną, zyskuje dla siebie opinię ludności górnoszląskiej, — „Praca“ natychmiast je podchwytuje, by, o ile można, w jeszcze ponętniejszej formie przedstawić je swym czytelnikom.

„Katolik“ nie oponuje nigdy formalnie „Pracy“. Toleruje on jej demagogiczne występy. Lecz całym swym duchem, nawskroś pojednawczym i kunktatorskim zaprzecza wciąż bojowniczym okrzykom swego *dodatku*. Oczywista, iż koniecznym tego skutkiem jest dwulicowość i nieszczerość społeczno-politycznego stanowiska „Pracy“, która musi się z redakcyą „Katolika“ rachować, jako też i czynności „Związku wzajemnej pomocy“, stojącego pod moralnym patronatem obu tych pism. Nastrój ludności miejscowej zmusza „Pracę“ i mówców „Związku“ do możliwie demokratycznego stawiania kwestyi. Wiedzą oni jednak z góry, że głoszonych zasad nie będą wstanie przeprowadzić, bo „centrum“ nie podejmie się nigdy ich reprezentacyi i obrony w parlamencie i sejmie. A w takim razie demokratyzm musi się

przeradzać w zwykłą demagogię, szkodliwą i dla mas, co jej słuchają, i dla przywódzców, co ją głoszą.

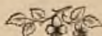
Tak więc oba względy, i narodowy i społeczny, przemawiają za oddzieleniem się Polaków Górnoszląskich od Centrum. Sojusz z niem bowiem jest zarówno dla narodowego jak i dla społecznego ich rozwoju szkodliwym. I dziwić się tylko należy, że ludowa opozycya na Szląsku nie zdobyła się jeszcze na ten krok stanowczy. Gdyby nawet nie istniały żadne antagonizmy między interesami polskiej ludności na Szląsku a interesami katolickich Niemiec, — to i wtedy należałoby się Górnoszlązakom ukonstytuować się w odrębne stronnictwo, by zapewnić sobie zupełną samodzielność swych czynności. Przykład polskiej partyi socjalistycznej godzien w tym względzie naśladownictwa. Gdy wszakże socyalistów polskich nie różnią żadne zasadnicze względy od ich towarzyszy niemieckich, — to o ileż konieczniejszą staje się polityka wolnej ręki dla demokracyi szląskiej, krępowanej i karykaturowanej przez sojusz jej z Centrum.

Ludowy ruch szląski nie zajął jeszcze dotychczas dość zasadniczego względem centrum stanowiska. Wystąpił on z opozycyą przeciwko pojedyńczym osobistościom, kontragitował przeciwko niemiłym mu kandydatom centrowym, postarał się o większą niezależność polskich komitetów miejscowych od centralnego komitetu niemieckiego, przeniósł wreszcie punkt ciężkości do zgromadzeń wyborców, — lecz nie wypowiedział jeszcze oficyalnie służby partyi centrowej, nie proklamował jeszcze swej samodzielności.

Miejmy jednak nadzieję, iż niedługą już jest chwila, gdy wybierani przez lud polski na Szląsku posłowie polscy nie będą wstępować w szeregi centrum i w ten sposób zadawać kłam opozycyi, poprzedzającej ich wybór. By nie było żadnych niedomówień, musimy tu zwrócić uwagę i na skutki, które z oczekiwanego przez nas kroku Górnoszląskiej demokracyi wyniknąć muszą.

Oddzieliwszy się od Centrum, może się ona ukonstytuować jedynie w polską narodowo-demokratyczną partyę. Wszelki separatyzm górnoszląski musi jej być obcym. W imię to bowiem myśli narodowej zażąda ona dla Górnego Szląska niezależności od Centrum, a wszelki szczery demokratyzm sprzeciwia się zasadniczo prowincyonalnemu zasklepieniu. *Naturalną powyższego konsekwencyą byłoby złączenie się Górnego Szląska z Poznańskiem w jedną organiczną całość. Nie należy się wszakże łudzić nadzieją.* Dzisiejsze Koło Polskie nie zgodzi się prawdopodobnie przyjąć do swego łona posłów górnoszląskich. Nie może ono bowiem zaprzeczyć, ani tylokrotnym swym zapewnieniom, że w imię wiedeńskich traktatów zrzeka się wszelkich wpływów na Szląsk, ani wreszcie swej polityce ultra-lojalności, nakazującej mu przedewszystkiem łagodzić obawy Niemców o zdobyte przez nich na ziemiach polskich pozycye. *Z konieczności więc demokracya górnoszląska będzie musiała wystąpić jako samodzielna, niezależna i od Centrum i od „Koła“ demokratyczna partya polska. Zerwie ona ową fałszywą solidarność narodową, która w rzeczy samej oznacza tylko bierną uległość narodu wobec arystokratyczno-klerykalnej oligarchii. Natomiast jednak zaciśnie ona ściślejszy węzeł między ruchem ludowym poznańskim i szląskim i stworzy jądro, koło którego z czasem ugrupuje się jednolita demokracya polska pod zaborem pruskim, ożywiona tym samym szerokim duchem narodowym, który panuje w budzącej się dziś również do życia demokracyi galicyjskiej.*

Str.





Przegląd prasy polskiej.

W sprawie wyborów w pszczyńsko-rybnickim okręgu piszą „Nowiny Raciborskie“ w Nr. 132:

„Całkiem nie pojmujemy, z jakich powodów zwracają się centrowe gazety niemieckie do koła posłów polskich w parlamencie z zapytaniem, długoli będą się jeszcze spokojnie przypatrywali „działaniu polskich agitatorów i podburzaniu przeciw centrum lub popieraniu ich w gazetach poznańskich“. Powtarzamy wyraźnie, że podobnego pytania nie rozumiemy. Koło posłów polskich nie ma na Szlasku żadnego wpływu, więc nie może też tu ani nakazywać czegoś, ani zakazywać, zwłaszcza, że wybieraliśmy zawsze posłów, którzy przyrzekali, że przystąpią do centrum. Że gazety polskie poznańskie cieszyły się i cieszą, ile razy lud polski w wyborach zwyciężył, to rzecz naturalna, ale ich zdanie nigdy nie rozstrzygało i o ich zdanie się nie pytano. Jedynie zdanie ludu samego było i będzie nadal miarodawczem. Lud, który tym razem posłem obrał sobie p. Radwańskiego, choć o nim w Poznaniu ani wiedzieli, będzie wybierał i nadal tylko wedle swego sumienia i przekonania i nie posłowie polscy ani gazety w Poznaniu, tylko on sam sobie będzie wybierał obrońców wiary i języka ojczystego!“

Tej samej kwestyi poświęca „Dziennik Kujawski“ w Nr. 250 następujące uwagi:

Kto zna stosunki w obu tych powiatach, ten rzeczywiście przyznać będzie zniewolony, że palec Boży temi wyborami kierował. Z jednej strony siła i potęga, przewaga materyalna, z drugiej ubóstwo, zależność i zupełne opuszczenie. Nikt bowiem biednemu ludowi tamtejszemu w tej walce wyborczej nie przewodził, nikt nie agitował na zebraniach, nikt mu otuchy i nadziei nie dodawał wystarczyło, że gazety polskie wymiarkowawszy wolę ludu, zgodnie wymieniły kandydata odpowiedniego, — aby zapewnić mu świetne zwycięstwo i zgotować upadek kandydatowi niemieckiemu. Przywódzcą i kierownikiem ludu w tej walce było tylko jego sumienie i jego silne przywiązanie do narodowości polskiej, jego gorące poczucie obowiązku obywatelskiego. W pierwszej chwili zdawało się, że udział w wyborach będzie mały. ale i to się nie sprawdziło. W roku 1890 oddano tam bowiem przy wyborach razem 19,279 głosów, w roku 1893 około 20,000, — teraz zaś przeszło 17,000 głosów, więc różnica nie tak wielka. Mimo swej zależności lud śmiało i z uznania godną odwagą szedł do urny wyborczej, aby zadokumentować swe poczucie polskie, spełnić swój obowiązek. Niejedna tam pewnie rodzina przypłaci te odwagę utratą chleba lub przykrościami rozlicznemi, niejedna krwawa łza popłynie, głód, nędza będą dla niejednego z tych śmiałych bojowników nagrodą za spełniony obowiązek obywatelski, ale nie złamie to ani ludu, ani dotkniętych niedolą taką jednostek. Toć wiedzieli z góry co ich czeka; jak żołnierze idą do boju mimo gradu kul i grożącej im na każdym kroku śmierci, tak lud ten dzielny szedł do urny wyborczej, nie bacząc na gromy jakie śmiałe takie wystąpienie ściągnąć może na jego głowy.

O walce górnoszląskiej takie wypowiada zdanie „Orędownik“ w Nr. 252.

„Owe złudne frazesy i budowane na nich nadzieje, że co się na G. Szląsku dzieje, to się dzieje wyłącznie skutkiem owego węża morskiego, którego na G.

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.

(Ciąg dalszy).

Trudno jest wyliczać wszelkie szczegóły planu kampanii, która miała zdobyć serca i wpływy konserwatywne dla kandydatury p. Antoniego. Liberałów postanowiono na razie unikać, ale ponieważ djabeł nie śpi, a więc i liberały górą być mogą, co się omal przy ostatnim wyborze do Rady Państwa nie stało, należy przeto być z nimi grzecznie, nie angażować się, a czekać zebrania przedwyborczego. Jeżeli na niem zwyciężą liberały, wtenczas dopiero całą siłą pary trzeba będzie uciekać z objęć konserwatywnych, a dążyć do raju postępowego.

Buteleczka „kapki“ u Gralewskiego zakończyła naradę, a pan Antoni Żywokost na Gandziarach Gandziarowski ulżył swemu pugilaresowi, wręczając panu Filipowi kwotę 50 złr„ jako zadatek na agitacye, mającą wynieść panią Antoniową do godności radczyni.

II.

Pan Antoni przez dwa tygodnie pilnie wypełniał swe kandydackie obowiązki według recepty przepisanej przez pana Filipa. Nabożeństwo majowe zmienił na czerwcowe, dawał się wszędzie poznać jako mąż lojalny, obywatel spokojny, dbały o cześć dla tradycyi i zdrowych zasad, będących jedyną opoką przeciw falom rozhukanego liberalizmu. Wszędzie wokoło napotykał pewność siebie; konserwatyści z uśmiechem ironii spoglądali na zabiegi liberałów, lekceważyli sobie „garstkę warchołów“ i twierdzili, że dość im przyjść, a zwyciężą. Pan Antoni, człowiek nie bez sprytu, bał się z początku nieco tej pewności, zdawało mu się, że gra tu rolę spora doza zarozumiałości, ale w końcu widząc, że wszyscy tak myślą i mówią, chciał się już odważyć na krok stanowczy i zdemaskować się wobec liberałów. Szczęściem w stanowczej chwili nadbiegł pan Filip i z tajemniczą miną szepnął mu do ucha następującą przestrogę: „siedź cicho, bo kto wie co będzie. Wczoraj w knajpie „pod Fujarą“ dosłyszałem, że liberały mają otrzymać sukurs od żydów z Kazimierza, a i tu pomiędzy klasą rzemieślniczą uzyskali silny zastęp zwolenników. Przycupnij do jutra. Jutro będzie zgromadzenie przedwyborcze, przyjdę po ciebie, a potem zobaczymy“.

Zgromadzenie przedwyborcze odbyć się miało w środę. Noc z wtorku na środę przespał pan Antoni w ciągłej trwodze. Rankiem śnił mu się jakiś pan w mundurze, otoczony hrabiami, profesorami, który mu życzliwie podawał rękę i smarował miodem po twarzy. Kiedy się oblizał, czuł, że go piecze i ujrzał w dali ognistego smoka, który ogonem swem dosięgał owego pana w mundurze i tryskał z paszczy gęstą smołą w stronę hrabiów i profesorów. Powstał wielki krzyk i lament, latały po powietrzu ręce, nogi, nosy, a smok przemienił się w pannę przecudnej urody, która puściła się w walca na trzy pas z posłem Romanowiczem. Raptem zaszumiało, rozeszła się woń czosnku i cebuli, i wszyscy aktorzy tej sceny wpadli w przepaść straszną, ciemną, nad którą złotemi głoskami widniał napis: „Czas“. Po chwili wpadł jakiś rycerz w przyłbicy, złapał ręką za wieżę ratuszową, porwał ją, posunął wskazówkę zegara o pół godziny, kichnął, wieża ratuszowa wyleciała mu z ręki i rozbiła się na same półbeczki piwa pilzneńskiego. Jedna z tych beczułek toczyła się, toczyła, aż uczuł ją pan Antoni na nogach, potem na brzuchu i piersiach... Szarpnął się i obudził. Przy nim stała żona, która przykrywała go kołdrą, zrzuconą wśród trapiących go sennych widziadeł.

Rano wstał pan Antoni bledszy niż zwykle. Głowa go nieco bolała, był jakiś nieswój, rozdrażniony. Na ból głowy dobra „koniferynka“, a na rozdrażnienie „jarzębiak“. Golnął więc co było pod ręką, przeszedł się po plantacyach, zjadł obiad i oczekiwał pana Filipa.

Ten stawił się na słowo. Przyniósł z sobą dwie kartki wyborcze: mniejszą i większą. „Ta większa. mówił do Antoniego, zawiera kandydatów do komitetu przedwy-

Szlązku nazywają „agitacyą wielkopolską“, że to jest tylko chwilowe i przemienne wywołane naleciałościami przelotnych doktryn — wszystkie te frazesy i nadzieje zawiodą, bo się rozbiją o instynkt ludu górnoszlązkiego: że księża górnoszlascy wskutek zachowania się swego w latach ostatnich, świadomie, czy nieświadomie, mogą się łatwo stać — przedłużonem ramieniem germanizacyi!

To jedno starczy, żeby cały lud górnośląski zmobilizować przeciw polityku jącym księżom, gdy się okaże potrzeba tego.

Pisaliśmy przed wyborami, że w tej walce między ludem a księżmi osoby kandydatów nie odgrywają roli, że chodzi o wpływy i siłę: kto kim będzie rządził, czy księża ludem, czy lud sobą samym. Dzień 24 października rozstrzygnął tę walkę i walka zakończyła się klęską księży górnoślązkich, — klęską taką, jakiej naród polski w swych dziejach porozbiorowych w Galicyi i w zaborze pruskim nie zna“.

Z powodu setnej rocznicy trzeciego rozbioru Polski znajdujemy w „Przeglądzie Wszechpolskim“ między innemi następujące uwagi:

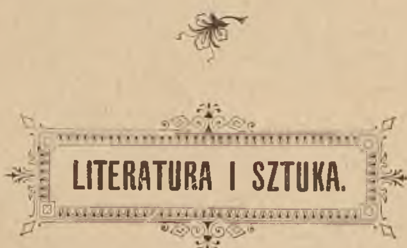
Cicho przejdzie w Polsce rocznica ostatniego rozbioru. Dla wielu nawet, tam, gdzie legalnem słowem drukowanem ogłosić jej nie wolno, w zaborze rosyjskim, przejdzie ona niepostrzeżenie. Nie jest to dobrze. Aczkolwiek wielkie rocznice nie są epokami dziejowemi, to jednak ustalił się zwyczaj święcenia ich odpowiednio do treści, radośnie lub żałośnie, a sam akt obchodu ma znaczenie polityczne, dając sposobność do zbiorowych wystąpień, do wygłaszania haseł przewodnich — i moralne przez wpływ, jaki te wystąpienia wywierają na cały ogół, na szerokie masy ludu i na młode pokolenia. Ale nie wiadomo, czybyśmy się zdobyli na wystąpienie, odpowiadające powadze tej wielkiej i bolesnej rocznicy, w takim zaś razie lepiej jest, że przejdzie ona cicho. Źle będzie tylko tam, gdzie przejdzie ona niepostrzeżenie, bo każdy Polak powinien wiedzieć o dacie tego faktu, od którego dziś nas dzieli to stulecie.

Nie można powiedzieć, żeby rocznica ta zastała nas w chwili bardzo pomyślnej, w chwili wielkiego zwrotu ku lepszemu. Przyszła ona zawcześnie na to, ażebyśmy w dniu żałoby mogli śmiało powiedzieć, iż naród nasz po długich latach ciężkiej niewoli, po długich latach syzyfowej pracy, bohaterskich wysiłków i rozczarowań, wszedł ostatecznie na drogę, prowadzącą prosto do urzeczywistnienia najświętszych jego celów. Przeciwnie, chwilę dzisiejszą znamionuje wahanie się i brak przewodniej myśli narodowej. Robimy wrażenie społeczeństwa, które nie ma siły i odwagi spojrzeć w przyszłość, po za granice dnia dzisiejszego. Ścierają się u nas wszelkiej barwy żywioły, poczynając od reakcyjnych a kończąc na radykalnych, od potrójnie lojalnych do rewolucyjnych — zewsząd słyszymy krytykę i wzajemne złorzeczenie sobie, ale nikt nie sięga w dalszą przyszłość, nie próbuje na podstawie danych dnia dzisiejszego zbadać losów, jakie nas jutro czekają, nie nakreśla śmiało kierunku, w którym pójść trzeba, by nie zbłądzić.

Jesteśmy rozczłonkowani...

Uderzając się w piersi, musimy się przyznać do tego i przypisać sobie samym wielką część winy. Narodowi naszemu nie brakowało zdolności twórczej w wielu kierunkach, nie brakowało męztwa i chęci poświęcania się, nie brakowało sił żywiołowych, które są podstawą wszystkiego, na których wszelki plan działania opierać się musi. Ale zawsze cierpieliśmy na brak myśli politycznej, i im trudniejsza była chwila, im bardziej wikłały się warunki naszego życia, tem bardziej się ten brak uwydatniał. Nigdy zaś pewnie nie byliśmy tak pogrążeni w odmęcie różnego rodzaju zagadnień, jak w chwili dzisiejszej. To nas w części z naszego bezplanowego postępowania usprawiedliwia.

Żaden naród nie ma w swem życiu tylu nierozwiązanych zagadnień, ile my ich posiadamy.



Żegota Pauli.

Kto w ciągu ostatnich lat dwudziestu kilku zwiedzał bibliotekę jagiellońską, ten w pierwszej na lewo małej sali, będącej pracownią Estreichera, za pierwszym rzutem oka mógł ujrzeć siedzącego przy małym stoliku, naprzeciw drzwi wchodowych, nizkiego, zgarbionego starca, zajętego robotą bibliograficzną. Jeżeli ten starzec zainteresował swoją fizyognomią, to zwiedzający musiał zauważyć bystre jego oczy, z pod gęstych brwi patrzące, twarz pomarszczoną, rzadkie wąsy na wargi spadające, a na łysinie jakieś olbrzymie guzy dziwnego kształtu. Kto zaś przyszedł nietylko dla zwiedzenia książnicy, lecz pragnął dotrzeć do jej źródeł, lub zaczerpnąć pewnych wskazówek czy wiadomości naukowych, temu z pomocą przychodził Estreicher, Wisłocki, albo ten zgarbiony starzec, noszący równie dziwne i oryginalne, jak jego postać, nazwisko Żegoty Paulego. W człowieku tym bowiem złożoną była istna skarbnica wiadomości historycznych, archeologicznych, literackich i bibliograficznych, nazywano go też słusznie „chodzącą encyklopedyą“. Tylko karty tej encyklopedyi nie otwierały się dla każdego. Czasem tak szczelnie były zamknięte, iż żadnym kluczem nie udało się ich otworzyć. Zależało to od kaprysów humoru Paulego, od tego, czy żądający informacyi i wskazówek podobał mu się, zależało wreszcie od przedmiotu...

Oryginalna postać, dość oryginalne nazwisko i oryginalne zachowanie się, łączyły się i z oryginalną przeszłością zmarłego.

Urodził się Pauli w Nowym Sączu, 1 lipca 1814 r. Ojciec jego Maciej, z zawodu krawiec, był wprawdzie Niemcem, ale kto miał matkę polską (Zofię z Wojciechowskich) i kto przez lat 81 żył w polskim kraju, w którym się i urodził, ten, rzecz prosta, musiał zapomnieć o swem niemieckiem pochodzeniu. A zapomniał o niem Pauli dość wcześnie, bo choć zapisany w metryce jako Ignacy Jakób, już około 15-go roku życia składał rymy, pod któremi podpisywał się spolszczonem z Ignacego imieniem Żegoty. Kiedy ojciec o tem się dowiedział, jako Niemiec zacięty, wpadł w gniew i zagroził mu wydziedziczeniem. Ale Ignacy-Żegota jakoś na to nie zważał, a ojciec, czy zapomniał o groźbie, czy nie miał czasu jej uskutecznić, bo umarł niebawem, dość, że młody Żegota został wraz z siostrą współwłaścicielem pozostałej po ojcu kamieniczki.

W N. Sączu skończył Pauli 6-klasowe gimnazyum. Był rówieśnikiem Dunajewskich, przyszłego ministra i kardynała, i zapewne kolegował z nimi, bo dobrze w ich pamięci był zapisany, jak świadczą notaty Estreichera. Proboszczem nowosądeckim był wówczas ks. Głowacki, wielki podobno oryginał, a który lubo nieznany w literaturze, był jednym z pierwszych naszych etnografów. Zbierał przysłowia, pieśni i podania ludowe, kochał się w starych książkach i rękopisach. Jedna z jego stancyjek cała zarzucona była drukami i szpargałami. Zaglądał do niej młody Pauli i zaczął kochać to, co ukochał Głowacki. Już w r. 1829 chodził po okolicznych

---

borczego według myśli reformistów, a ta mniejsza jest listą stańczykowską. U stańczyków mamy już nieco miru; lepiej dla ciebie byłoby, aby przeszedł ich komitet, ale o ile uważam, biorą się do tego nieco opieszale. Liberały gotowi zwyciężyć, a ponieważ stańczyki wmawiali od lat kilkunastu w naród, że należy głosować za listą Komitetu legalnego, mogą przeto zginąć od własnej broni. Na wszelki wypadek masz oto listę liberalną, poprzekreślaj na niej wszystkie nazwiska i wpisz zamiast nich wszystkie z listy stańczykowskiej...“

Pan Antoni spojrzał zdziwiony na pana Filipa. Ten z uśmiechem wyższości i zadowolenia ciągnął dalej: „jeżeli, co przypuszczać należy, do skrutynium powołani zostaną liberali, wtenczas ty oddasz tę listę. Głosować będziesz za stańczykami, a formatem karty zwiedziesz liberałów. Będą pewni, żeś liberał i zanotują ciebie w pamięci“.

Pan Antoni w milczeniu uścisnął dłoń genialnego przyjaciela i ołówkiem konserwatywnym na papierze liberalnym zaczął pisać: Armółowicz, Asnyk...

Tu zatrzymał się. „Kto to taki?“ zapytał.

— Właściciel realności na ulicy Łobzowskiej, odpowiedział pan Filip z ironicznym uśmiechem.

— Dużej?

— Parterowej.

— Phi! — bąknął pan Antoni i pisał dalej.

Kiedy już lista była wypełnioną, napili się przyjaciele „dla kurażu“ po kieliszku gdańskiej i ruszyli do magistratu.

Nie będę opisywał przebiegu zgromadzenia, bo to należy do historyi. Inne pióro zanotowało już wiekopomną klęskę stańczyków i zwycięztwo liberałów.

Pan Antoni pozostał do ostatka i kiedy już tylko kilku głosujących było na sali, z całą powagą zbliżył się do urny i wrzucił swą listę liberalną, pełną zdrady, bo konserwatywnej treści. Skrutatorzy widząc z nim pana Filipa, nie omieszkali zapytać tego ostatniego, kto to jest tak zacny obywatel. Objaśnienie przyjęto do wiadomości z należytą czcią dla dwóch kamienic i gruntu nad Rudawą.

— Teraz, kochany Antoni — rzekł, będąc już na ulicy pan Filip — idź do domu i czekaj. Skoro się dowiem o wyniku głosowania, zaraz do ciebie przyjdę i obmyślimy co dalej czynić nam należy.

Usłuchał pan Antoni rady przyjaciela i z niecierpliwością oczekiwał przez dwie godziny wiadomości, mającej zdecydować o jego zasadach. Prawdę powiedziawszy wolałby zostać konserwatystą, bo pomijając już to, że wyrobił sobie pomiędzy Stańczykami pewne stosunki, zawsze to przyjemniej należeć do jednego stronnictwa z hrabiami, dyrektorami, profesorami, niż z jakąś tam hołotą, co buty bierze na kredyt, a ubranie spłaca ratami. A jeżeli oni przyjmują do siebie jakąś biedę, co ledwo parterową realność i to na Łobzowskiej posiada, toć przecie jemu, Żywokostowi na Gandziarach, poczesne między nimi przypadłoby miejsce.

Losy jednak chciały inaczej. Nie było danem panu Antoniemu „bronić tradycyi“, musiał iść w szeregi „walczących przeciw zgniliźnie reakcyi“.

Punkt o ósmej wpadł pan Filip z okrzykiem: zwyciężyliśmy!

— Górą więc konserwatyści?! — zawołał pan Antoni.

— Ale gdzież tam, górą my, liberali! Pobiliśmy stańczyków na głowę. Lista nasza była liberalniejszą o jednego żyda i stopięćdziesiąt głosów żydowskich więcej padło na naszą stronę: Niema czasu, Antoni, zbieraj się — idziemy!

— Gdzie? — zapytał oszołomiony kandydat.

— „Pod Fujarę“ — tam nasza partya święci zwycięstwo. Chodź, a nie zapomnij języka w gębie, spustu w gardle i pieniędzy na „fundę“. Tylko zręcznie, a górą nasza. Od dziś za dwa tygodnie żona twoja zostanie radczynią — jakem Filip.

Pan Antoni uczuł w tej chwili, że w żyłach jego zaczyna kipieć krew demokratyczna. Rzucił pod stół rękawiczki, przez które dotykał się wczoraj dłoni pana hrabiego i wdziawszy z fantazyą kapelusz, oparty na ramieniu pana Filipa, ruszył „pod Fujarę“.

wioskach i zbierał w całej Sądeczczyźnie pieśni i podania ludowe.

W tym czasie musiała przypaść śmierć jego ojca, bo ze skromnym kapitalikiem osiągniętym ze sprzedaży kamieniczki ojcowskiej, podążył do Lwowa, aby słuchać wykładów uniwersyteckich. Niedługo jednak ich słuchał, bo w r. 1834 czy 1835 wciągnął się do jakiegoś tajnego politycznego związku, zagmatwał się w jakieś roboty polityczne, co odpokutował paroletniem więzieniem. Pierwsze jego prace literackie drukowane były w roku 1834 po niemiecku, snać jeszcze krew ojca odzywała się o swoje prawa. Były to tłomaczenia z języków południowo-słowiańskich (Illirische Romanze, Königssohn Marko itd.), które widocznie studyował. Pojawiły się one w *Mnemosyne*, piśmie niemieckiem, wydawanem we Lwowie przez prof. Aleksandra Zawadzkiego, botanika. Wkrótce w r. 1835 drukował swoje „Wycinki z podróży po Galicyi“ w „*Rozmaitościach Lwowskich*“. Później spotykamy artykuł jego o Melsztynie w „*Lwowianinie*“ (1837), a dalej tłomaczenia powieści francuskich (Małe nieszczęście, Hussein-Pasza w Neapolu) w „*Dzienniku mód paryzkich*“, który pod firmą krawca Kulczyckiego, był pismem ściśle literackiem i, jak powiada Estreicher, „był zbawczem zjawiskiem w Galicyi, bo z pod lekkiej formy przemawiał tak czystym, niezepsutym językiem, jakiego nie było dotąd w dziełach tamże drukowanych“.

Pierwszemi, osobno wydanemi dziełami Żegoty Paulego były: „Pieśni ludu polskiego w Galicyi“ i „Pieśni ludu ruskiego w Galicyi“. Tych ostatnich, jak twierdzą rusini, sam Pauli nie zbierał, ale miał korzystać ze zbiorów rękopiśmiennych duchowieństwa ruskiego. Wkrótce potem przystąpił Pauli do wydawnictwa „Starożytności galicyjskich“, ale wydawnictwo to przerwał z braku poparcia. Pisywał też do wychodzącego w Lesznie „*Przyjaciela Ludu*“ (Klasztor Bazylianów i zamek Herburtów w Dobromilu. Ruiny Melsztyna). Jednocześnie pracował jako urzędnik w Ossolineum, zkąd jednak usunięto go dla Przyłęckiego.

Wtedy, zdaje się, opuścił Lwów i udał się do Krakowa, gdzie zaczął uczęszczać na wydział lekarski; choć egzaminów nie składał, olbrzymia jego pamięć sprawiała, że do ostatnich chwil życia zadziwiał wiadomościami z zakresu medycyny. Zwrócono na niego uwagę Adama Potockiego, który go zrobił swym sekretarzem i bibliotekarzem i wziął go ze sobą w podróż za granicę. Zwiedził więc Pauli Niemcy, Czechy, Francyą i północne Włochy. Powróciwszy do kraju, dalej prowadził swą pracę zbieracza, oddawszy się całkiem historyi, archeologii, dziejom literatury i bibliografii. Szperał po rękopisach i książkach, gromadził stosy notat i wypisów. Wydał: „Pamiętniki do życia i sprawy Samuela i Krzysztofa Zborowskich.“ „Żywoty hetmanów“ (z materyałów po S. Brodowskim), „Pamiętniki o wyprawie chocimskiej“ Jana Potockiego, „Podróż do Turcyi i Egiptu“, „Pamiętniki Łosia“, „Poezye“ Gawińskiego, hetmana Rzewuskiego. itp.

Sława jego, jako erudyty, rosła coraz więcej, a nietylko u nas, ale i w Niemczech i w Czechach, gdzie uczeni dobrze znali i znają nazwisko Żegoty Paulego, bo nietylko z prac jego korzystali, ale często w sprawach naukowych udawali się do niego o radę i pomoc. Nazywano go i słusznie ostatnim polihistorem.

Kiedy Turowski rozpoczął swoje wydawnictwo „Biblioteki Polskiej“, największą prawie pomoc uzyskał od Paulego. Przygotowywał on znaczną część materyału do druku (Herbarz Paprockiego, „Ziemianina“ Orzechowskiego, „Dworzanina“ Górnickiego itd.), dostarczał mu życiorysów wydawanych pisarzy i spisów bibliograficznych. Erudycya i wiedza Paulego były powodem, iż Aleksander Przeździecki powierzył mu pracę naukową przy wydawnictwie „Dziejów“ Długoszowych. On przygotowywał dla wydawnictwa poprawny tekst łaciński, skolacyonowany z przechowanemi po księgozbiorach rękopisami Dziejów.

Później uniwersytet krakowski powierzył mu wydanie „Kodeksu uniwersytetu“, który też wyszedł w 4-ch tomach pt. „*Codex diplomaticus Universitatis Studii generalis Cracoviensis*“. Kto ma pojęcie o tego rodzaju pracy i umie poznać się, z jaką wiedzą i sumiennością wykonaną została, ten wie, że gdyby Pauli nic więcej dla nauki nie uczynił, prócz wydania tego kodeksu, już powinien być zapisany w dziejach naszej nauki, jako jeden z najwięcej zasłużonych i najwięcej poważanych jej pracowników. I w „*Album studiosorum*“ uniwersytetu jagiellońskiego znajduje się część pracy Paulego.

Z pobieżnego przeglądu jego naukowej działalności widzimy, że nie był to umysł twórczy, ale pełen głębokiej wiedzy zbieracz i wydawca. Choć można go słusznie nawet nazwać dyletantem, bo, jako samouk nie przechodził studyów systematycznych, ale ten dyletant posiadał niezwykłą łatwość przyswajania sobie nowych kierunków badania i ani nad krok w tyle nie pozostawał, czem budził podziw uczonych, zaprawionych na studyach ostatniej mody i metody. Pozostawił też po sobie plon wielki, ale plon ten przy jego zamiłowaniu do pracy byłby jeszcze dwa razy większy, gdyby żył w szczęśliwszych stosunkach materyalnych.

Bo, że się nie wiodło w życiu Paulemu, to nie ulega wątpliwości. Inni, z dziesięć razy mniejszym kapitałem nauki i pracy, pozajmowali wysokie i poważne stanowiska, a on zawsze siedział na szarym końcu. Dlaczego opuścił miejsce sekretarza i bibliotekarza Potockich, nie wiem dokładnie, bo nikt tego dobrze nie pamięta, a on sam szczegółów ze swego życia nigdy nikomu nie udzielał. Jedni mówią, że nie umiał się poddać formom towarzyskim, drudzy, że wygadał się naiwnie z czemś, co w ówczesnych czasach należało ukrywać i ztąd naraził u rządu swego chlebodawcę. Później siedział pewien czas „na bruku“, starał się o posadę praktykanta przy Bibliotece Jagiellońskiej (w r. 1853 za Muczkowskiego), ale jej nie otrzymał. Żył więc z robienia korekt, spędzając całe godziny u antykwarzów, od których nabywał rzadsze broszury. Dopiero kiedy w r. 1870 zachorował nieuleczalnie Franciszek Matejko, dał mu po nim Estreicher posadę „prowizorycznego amanuenta Biblioteki c. k. uniwersytetu krakowskiego“ z pensyą roczną 600 złr. To był szczyt stanowiska, na jaki się wyniósł, i na tym szczycie „prowizoryczno-sześciuset-reńskowym“ do końca życia pozostał. A prawda! miał jeszcze tytuł i urząd historyografa uniwersytetu. Urząd ten powołał do życia jeszcze w r. 1622 Sebastyan Petrycy, głośny

---

W handlu „pod Fujarą“ było gwarnie i wesoło. Wszystkie twarze promieniały z radości, bo zwycięstwo otrzymane przed paru godzinami było wielkie, przechodzące najśmielsze nadzieje. Do godziny 9-tej, to jest do chwili przyjścia naszego bohatera wypito już 212 koniaków, 348 innych wódek i koło 400 kufli pilznera. Obywatele całowali się, ściskali, co chwila słychać było: górą nasza! wytniemy szelmów do nogi — skończyło się wasze panowanie! — Józek, cztery piwa! — a tośmy im... zerżnęli! — Pięć koniaków dawaj chłopie! — My wam pokażemy, co obywatel znaczy! Niech kosztuje co chce, daj dwa sznapsy! — Psiokrew bestyje stończyki, bodaj was choroba! — Zdrowie pana rydaktora; ale z pełnego, z pełnego, bo ja nie herbu Doliwa! — Oleś przynieś trzy świeżutkie i moskala!

Panu Antoniemu przyszła chętka do ucieczki. On, obywatel spokojny, wstrzemięźliwy, kładący się o 10-tej do łóżka, miał tu w tej kompanii kilka godzin przesiedzieć? A to gotowa choroba! Dym z cygar, wyziewy z wódki, gorąco jak w parówce, hałas, krzyk, wrzawa, wszystko to go oszołomiło, przestraszyło. Zrozumiał dopiero teraz jak cierniowa droga prowadzi do upragnionego nieba. Była chwila, w której chciał dać za wygranę, ale szczęściem jego anioł stróż, pan Filip, umiał wlać otuchę do serca i powstrzymać go od rozpaczliwego kroku.

Przeszli do trzeciego pokoju i z trudem znaleźli miejsce przy stoliku, zajętem już przez czterech wesoło rozmawiających jegomościów. Pan Filip znał każdego: i pana mecenasa dobrodzieja (nawiasem mówiąc koncypienta adwokackiego bez drugiego państwowego egzaminu) i pana prezesa (nabył tę godność przy dużym stole „pod Fujarą“) i pana redaktora (pisze za darmo korespondencye do Trąby Tarnopolskiej) i pana dyrektora (był czas niejaki reprezentantem Towarzystwa eksportu obrzynków od cygar do Hamburga). Przywitawszy się ze wszystkiemi, przedstawił im swego przyjaciela, kładąc szczególny nacisk na wyrazy „właściciel dwóch realności“ i dodając ze znaczącym uśmiechem: „nasz całem sercem i duszą“! Rekomendacya była krótka, ale zrobiła wrażenie. Przy dwóch kamienicach to już i nazwisko niepotrzebne. Pan redaktor przypomniał sobie, że widział pana Antoniego przy urnie.

Rozmowa naturalnie rozpoczęła się na temat wyborów. Pan Antoni dowiedział się wkrótce, że znany z prawości doktór A. dotychczasowy radca miejski, jest kieszonkowym złodziejem, że B. również radca, chciał miasto sprzedać żydom, że radca C. dlatego jedynie nie siedzi w kryminale, ponieważ siostra jego służyła u ministra za mamkę, że radca D. utrzymywany jest przez stańczyków z kasy Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, że radca E. zadusił przed dwudziestu laty siostrę swojej żony, aby otrzymać po niej spadek, że radca F. był szpiegiem za czasów wolnego miasta itd. itd. Najwięcej dowodzili redaktor i mecenas.

Rozmowy przy „suchej gębie“ prowadzić nie można. Pan Antoni ciesząc się z miłych znajomości zaproponował po sześciu kuflach butelczynę węgierskiego; po pierwszej poszła druga, po drugiej trzecia. Nowi znajomi i pan Filip wciągali w siebie jak but dziurawy, tylko zacny fundator ostrzeżony przedtem przez przyjaciela, ile razy nie patrzyli współbiesiadnicy, wylewał pod stół krople węgrzyna. „Pan mecenas“ kazał przynieść sera, „pan prezes“ albertynek i bakalij, „pan dyrektor“ kilka moskali, bo to wytrawia, a „pan redaktor“ zafundował koniaku „tego lepszego“.

Tymczasem goście zaczęli się przerzedzać, wielki stół został wolny. „Przesiądźmy się“ zawołał pan Filip i propozycyę w czyn zamieniono. Przyszło paru nowych gości, zaproszono ich do stołu, potem znowu paru się przyłączyło, a że to wczesna jeszcze pora, bo dopiero w pół do pierwszej, pan Filip kazał dać „szampitra“. Boski trunek szumiał w kieliszkach, unosząc kawałki lodu i znikając w szerokich gardłach biesiadników.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



lekarz i filozof, tłomacz Arystotelesa, i uposażył go stosownym funduszem, zastrzegając prawo nominacyi historiografa biskupom krakowskim. Ale z biegiem lat fundusz znikł, a pozostał czczy tytuł, którym obdarzono Paulego.

Co prawda, swym niepowodzeniom życiowym, swemu niedostatkowi i biedzie sam był winien w znacznej części. Już to „do rany przykładać“ go nie można było. Nie ubliża to bynajmniej jego charakterowi, owszem, stanowi dla niego pochwałę, bo wszelkich weredyków, ludzi niezależnego zdania, nie umiejących udawać czułości i zachwytu, a do takich należał Pauli, nigdy się nie używało jako maści na rany. Kiedy starał się o posadę praktykanta przy Bibliotece i pracował w niej „na próbę“, wciąż ścierał się z równie szorstkim Muczkowskim, pomimo, że od tego ostatniego zależało jego przyjęcie. Zgryźliwy, często opryskliwy, tytułom i stanowiskom nie schlebiał, o łaskę nikogo nie prosił. Zadawalniał się izdebką swą w klasztorze OO. Bonifratrów na Kazimierzu, w której przechowywał skarby swych notat i zbiorów.

A był co do tych skarbów prawdziwym skąpcem. Nikomu ich się tykać nie pozwolił, nikogo prawie do siebie nie puszczał. Kiedy Maurycy Dzieduszycki zbierał materyały do historyi Spiża, wspomniał Pauli, że Spiż ma prawie „gotowy“, że w dawnych latach zeszedł go w szerz i wzdłuż spisując historyę każdej wsi, notując każdy napis nagrobkowy. Dowiedział się o tem Dzieduszycki i dalejże do Paulego, aby mu użyczył swych materyałów. „I owszem, przyniosę je panu jutro do biblioteki“ odpowiedział proszony. Przyszło jutro, zgłasza się Dzieduszycki, „zapomniałem, mówi Pauli, przyniosę panu jutro.“ I to „jutro“ trwało tydzień cały, aż zniecierpliwiony Dzieduszycki wybrał się do pomieszkania Paulego. Przypadkowo drzwi były otwarte, wchodzi. Kiedy go ujrzał Pauli odwrócił się tyłem i zawołał głośno: „ja nikogo u siebie nie przyjmuję.“

Znając swą sławę „encyklopedyi chodzącej“, lubił wprawdzie Pauli kiedy się do niego udawano, ale często miał niewymowną przyjemność przekomarzać się, zawodzić proszących. To, co się stało Dzieduszyckiemu, stało się i wielu innym. Żył np. w Krakowie Zarewicz, autor kilku rozpraw historyczno-heraldycznych i archeologicznych, który między innemi zbierał przez długi czas materyały do historyi Melsztyna i Melsztyńskich. „Nie miałby pan czego dla mnie? pytał Paulego, wiedząc, że ten o Melsztynie niegdyś pisał. „Oho! mam i sporo“. Ale tego co miał, Zarewiczowi nie dawał. „Będzie czas na to, mówił, jak pan wydasz swoją monografię.“ I Zarewicz bał się ją wydać, bo nuż wyda, a Pauli śmiać się będzie, wykazując mu niedokładności. Profesor Łuszczkiewicz znowu po długich poszukiwaniach doszedł, że budowniczym słynnej kaplicy zygmuntowskiej był Berecci. Ucieszony odkryciem zwierza się z tem Paulemu. „Też mi pan nowość mówisz, odzywa się na to Pauli, toż ja nawet jego testament posiadam.“ I rzeczywiście posiadał.

W połączeniu z tą dziwną zazdrością była i chętka do przechwałek, tak, że prawie nigdy nie było można wiedzieć, czy Pauli rzeczywiście posiada pewne materyały, czy tylko mówieniem o nich dręczy chciwego je przejrzeć. Było to tylko dziwactwo, bo trudno z drugiej strony o więcej skromnego od niego człowieka. A i w tej skromności lubił ludziom płatać figle. Zmarły nie tak dawno we Lwowie inżynier, Julian Kołaczkowski, posiadał znakomity zbiór autografów. Prosił więc Paulego, aby mu dał do niego kilka wierszy ze swoim podpisem. Prośba ta była grochem na ścianę. Kołaczkowski jednak nie chciał ustąpić z placu i po pewnym, a znacznym przeciągu czasu napisał list do Paulego, prosząc go o wyjaśnienie jakiejś kwestyi naukowej „Aha! tędy go wiedli, pomyślał Pauli i odpowiedział Kołaczkowskiemu listownie, ale nie położył na liście swego podpisu. I kontent był starowina przez parę tygodni, że mu się tak udało „wystrychnąć“ Kołaczkowskiego.

Pomimo wszelkich dziwactw, pomimo, że niejednego obraził lub uraził, był Pauli bardzo lubiany przez wszystkich, co go bliżej znali. Czysty, uczciwy, umiał być nawet przyjacielem, a nie szukał przyjaciół daleko, chciał tylko takich, z którymi by mógł pogadać o swych ulubionych przedmiotach, lub w których miałby towarzyszy do pieszych wycieczek w okolice Krakowa.

Szczególnem zaufaniem obdarzał uczonego kustosza biblioteki Jagiellońskiej, dra Władysława Wisłockiego i ks. Ignacego Polkowskiego. Ci dwaj też powzięli w r. 1887 myśl wyprawienia mu jubileuszu, jako w pięćdziesiątą rocznicę wydania jego „Pieśni ludu polskiego“. Ale jak tu urządzić jubileusz? Mówić mu o nim ani sposób, bo nie przyjmie. Zaprosić go do jakiejś sali, do jakiejś restauracyi, także nie można, bo jak wejdzie i zrozumie, na co się zanosi, to wyrwie się przemocą i ucieknie. A więc ks. Polkowski postanowił urządzić jubileusz we własnem mieszkaniu. Zaproszony na herbatę, Pauli przyszedł, niczego się nie domyślając. Wchodzą goście, jeden drugi, dziesiąty, Paulego to nie dziwi, bo ks. Polkowski urządzał od czasu do czasu u siebie większe przyjęcia. Nareszcie dają kolacyę, siada Pauli z innymi do stołu. Po chwili podnosi się ks. Polkowski i po kilku słowach ogólnych o potrzebie uczczenia ludzi pracy i nauki, rozpoczyna krótki życiorys Paulego słowy: „Zegota Pauli urodził się....“ Wtedy nareszcie zrozumiał Pauli, o co chodzi, zerwał się i zaczął wołać zirytowany: „Kto się urodził? ja się nie urodził, nikt nie wie, kiedym ja się urodził, co komu do tego? i potrzeba było długiej chwili, zanim się uspokoił i zgodził się być dnia tego solenizantem. Nawiasem mówiąc, nie mógł pojąć, zkąd dowiedziano się o dacie jego urodzenia, z którą się krył i taił, zapominając, iż w Nowym Sączu znajdują się księgi metryczne, z których też wydostano datę jego urodzenia.

Jeszcze na tydzień przed śmiercią zdawało mu się, że jest zdrów zupełnie, tylko ogromna żółtość na twarzy świadczyła, że choroba nim owładnęła. Położył się do łóżka w poniedziałek 14 października, a kiedy go nazajutrz odwiedził dr. Wisłocki, zaręczał, że mu nic nie jest, tylko „pedały nie chcą słuchać.“ W sześć dni później

---

Axel Steenbuch.

MIŁOŚĆ.*)

Przekład

Zygmunta Bytkowskiego.

OSOBY: **Nieszczęśliwy. — Szczęśliwy.**

Akt I.

(Późny wieczór. Czarne chmury. Nie widać korony drzew, słychać jeno, jakoby szum fal wzburzonych, gdy wiatr konarami zakołysze. Dołem, przy ziemi szepty i szmery i szelesty w zaroślach, powietrzem poruszanych. Dwoje oświetlonych okien błyska — niby oczy w czarną noc zapatrzone. Domu czarnego nie widać. Szmer ostrożnie otwieranych drzwi. Przez otwór powstały ztąd, żadne nie dobywa się światło. Nieco później odgłos tajemnych kroków po żwirze. Potem jęk wiatru. W dzikim skoku wypada ktoś z gąszczy. S z c z ę ś l i w y dopada go i chwyta obiema rękami. Palce jego wpijają się nieledwie w ciało).

SZCZĘŚLIWY. Ktoś ty? Nie chcesz twego imienia powiedzieć, ty? Ale ja je mieć muszę. Ja je z ciebie wytrzęsę jako owoce z drzewa. — Złodzieju! Łotrze! Imię, powiadam? — Nie chcesz? — I nie usiłujesz nawet uwolnić się — ni głosu nie wydałeś — tedy cię zdławię nie wiedząc kim jesteś! Złodzieju! Puszczyku! *(Puszcza go i mówi z cicha)* Znam jednego tylko, któryby taki spokój zachowywał, gdyby go się za gardło chwytało. — Tedy to tyś jest!

NIESZCZĘŚLIWY. Wiedziałeś przecież natychmiast.

SZCZĘŚLIWY. Od lat pięciu wiedziałem, iż gdy kto w noc ciemną około domu węszył i w krzakach się ukrywał, tyś nim był z pewnością. Sprawiłem się jednak gracko. Nieprawdaż? Dopadłem cię, ty!

NIESZCZĘŚLIWY. Widziałem cię przez cały czas. Białą twą twarz, którąś tam w ciemnym pokoju do szyby przycisnął, — małe drzwi boczne, któreś otworzył i przez któreś się wykradł.

SZCZĘŚLIWY. I nie uciekłeś?

NIESZCZĘŚLIWY. Nie.

SZCZĘŚLIWY. Jesteś, zdaje się bardzo odważny.

NIESZCZĘŚLIWY. Nigdym lęku nie znał.

SZCZĘŚLIWY. Mogłem cię zdusić.

NIESZCZĘŚLIWY. Jednak nie uczyniłeś tego. Czy pomówimy ze sobą, czy się rozejdziemy?

SZCZĘŚLIWY. Chcesz może iść na górę, do światła, gdzie przypatrzylibyśmy się twarzom naszym.

NIESZCZĘŚLIWY. Jak chcesz.

SZCZĘŚLIWY. Ja — ja — twojej widzieć nie chcę.

NIESZCZĘŚLIWY. Jak chcesz.

SZCZĘŚLIWY. Pójdźmy nieco dalej od domu! Tam na samym końcu ogrodu stoi ławka. Uważaj na każdy krok. Będę cię prowadził. Ja tu znam kąt każdy.

NIESZCZĘŚLIWY. I ja również.

SZCZĘŚLIWY. A więc nie pierwszy raz! — Jakże dawno?

NIESZCZĘŚLIWY. Od tygodnia dopiero. — Teraz omal się nie potknąłeś.

SZCZĘŚLIWY. Nie można prawie ścieżki od trawnika odróżnić.

NIESZCZĘŚLIWY. Mój wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Ja widzę, że trawnik jest zielony.

SZCZĘŚLIWY *(podczas gdy idą)*. To tutaj jest grządka różami zasadzona.

NIESZCZĘŚLIWY. Poznaję zapach.

SZCZĘŚLIWY. A tu goździki.

NIESZCZĘŚLIWY. Uszczknąłem jeden, — gdy się rozjaśniło, spostrzegłem, iż był czerwony.

SZCZĘŚLIWY. W tej stronie akacya.

NIESZCZĘŚLIWY. Wiem. Pociągnąłem pewnej nocy ręką po liściach i poznałem kształt.

SZCZĘŚLIWY. Milcz! Bądź cicho!

NIESZCZĘŚLIWY. Gdy róg ten miniemy, będziemy u ławki.

*) W miesiącu lutym b. r. zamieściliśmy symboliczny utwór Maeterlincka p. t. „W głębi“. Dziś podajemy drugą próbkę tego samego kierunku, cieszącą się wielkim rozgłosem i tłomaczoną już na kilka języków. Przyp. Red.

(20-go) pożegnał się ze światem, sporządziwszy przedtem testament, mocą którego wszystkie jego rękopisy i notaty przeszły na własność dra Wisłockiego, a kwota zebrana ze sprzedania cennego księgozbioru, ma być wcieloną do funduszu przebudowy szpitala OO. Bonifratrów. Dr. Wisłocki przyjął zapis, ale odstępuje go na własność Bibliotece Jagiellcńskiej za sumę dostateczną do położenia tablicy pamiątkowej Paulemu w jednej ze świątyń krakowskich lub na ścianie krużganków Biblioteki.

Pogrzeb Pauli miał świetniejszy niż było jego życie. Znalazła się na nim i Akademią Umiejętności, która zapomniała o nim za życia, bo nie powołała go do grona swych członków, choć powołuje ludzi daleko mniejszej wiedzy i pracy, choć, jak się wyraził w telegramie Zakład narodowy imienia Ossolińskich (Małecki, Kętrzyński itd.) Pauli „dla zasług i wydatnej pracy zasłużył sobie na cześć u całego społeczeństwa."

K. Bartoszewicz.



Bunt przeciw Berlinowi.

Dużo krwi napsuła literatom i artystom niemieckim broszurka w czerwonej okładce, figurująca od paru tygodni w oknach wystawowych księgarń berlińskich. Czerwona barwa tej broszurki, zatytułowanej „Das Berlinertum in Litteratur, Musik und Kunst", ma być symbolem rewolucyi; kryjący nazwisko swe pod przyłbicą pseudonimu autor podżega prowincyę do powstania przeciwko Berlinowi. Muzy, zdaniem autora, są niezadowolone z hegemonii Berlina na polu literatury i sztuki i błagają prowincyę o odebranie batuty nowoczesnemu Babilonowi.

Broszurka jest gorzką pigułką dla Berlina, pomimo, iż autor, nie mogący się poszczycić ciętem piórem, celuje niezawsze trafnie; prawda jednak przez niebardzo miodopłynne usta malkontenta prowincyonalisty mówi sama za siebie. Paryż był i pozostał dotychczas sercem Francyi; z miasta tego soki ożywcze rozchodzą się po całym organizmie Francyi. Pulsowania prowincyi wtórują serdecznemu tętnieniu stolicy nadsekwańskiej. Trony francuskie zapadły w nicość; Paryż w swym majestacie króluje nadal nad Francyą; pod jego egidą kwitnie literatura i sztuka. Czyż to samo prawo supremacyi należy się i Berlinowi? Niegdyś liczne dwory niemieckie ściągały ku sobie poetów i artystów; za czasów wybujałego separatyzmu państwowego śpiewali romantycy. Czy stolica zjednoczonych Niemiec stoi na wysokości zadania przekazanego jej przez zdetronizowane dwory? Na pytanie to autor bez długiego namysłu daje odpowiedź przeczącą, nie bacząc na to, iż zagłuszą ją syk i wrzask podrażnionej w swej ambicyi berlińskiej prasy. Berlin jest przedstawicielem potęgi niemieckiej; wszystkie zdobycze materyalnej kultury występują na jaw w Berlinie. Lecz „noli tangere circulos meos" lub raczej „musas meas", woła autor do stolicy Hohenzollernów. Berlin w żaden sposób nie powinien sobie rościć pretensyi do reprezentowania ducha niemieckiego. Jako parweniusz, dorobkiewicz, chce blaskiem reklamy zatuszować ubóstwo ducha swego. Nadrabianiem wielkopańskiej miny i blagą chce wprowadzić w błąd naiwną prowincyę i wmówić w nią wiarę w jego posłannictwo. A jednak jest on przykrojonym na miarę krawca a nie Fidyasza. Do przewodniczenia na polu literatury i sztuki brak mu rzeczy podstawowej — zapału. Jest jedna cecha, która zasadniczo odróżnia mieszkańca Berlina od prowincyonalisty — daltonizm uczucia. Te same ustępy utworów dramatycznych, które w innych miastach, w Wiedniu np. wyciskały łzy publiczności, na deskach teatrów berlińskich wywołują uśmiech. Brutalny cynik, który nad bólami i radościami ludzkiego „ja" dawno przeszedł do porządku dziennego, nie jest w stanie poddać się jakimkolwiek szlachetnym wzruszeniom; nie zaszkli się jego źrenica łzą, gdy szamocze się w pętach konfliktów dusza ludzka; nie zadrgnie mu serce przy widoku jaźni, mdlejącej w bólu moralnym. Albowiem ból moralny i wszelkiego rodzaju sentymenty, są dla niego drobnostką.

Romantycy i klasycy przestali zażywać miru i szacunku w Berlinie. Zachwycać się Szyllerem jest rzeczą niegodną wolnego od „przesądów", trzeźwo patrzącego na świat, zrównoważonego i nieznającego wstrząśnień i porywów berlińczyka. Ideałów mu nie potrzeba, gdyż ani ich rozumie, ani odczuwa ani czci. Trzeba mu natomiast wszędzie rodzinnej atmosfery berlińskiej, gdzie ludzie są na handlowo-urzędowej stopie, gdzie formy zastępują treść i uczucie a nerwy kąpią się w niewysychającem źródle hałasu i awantur. Wygodnie mu w tej atmosferze, pełnej wyziewów egoizmu i występku. Giełda i pieniądz nadają ton a na polu literatury i sztuki „to nagłym, to wolnym ruchem kręcą gwiazdy swoim duchem". Jestto Olimp „Uebermenschów", których życie jest „jenseits von Gutem und Bösen". Kierunek literacki „Moderne" jest specyfikiem Berlina. W lustrze tem ogląda on samego siebie. Zresztą, ktokolwiek bierze szturmem twierdzę powodzenia w Berlinie, musi uderzać w nią działami pierwszego kalibru — frazesem, blagą, efektami i sensacyjnością. Działa te muszą być wykończone z całą doskonałością berlińskiej techniki. Nie zaszkodzi jednak pamiętać, iż bądź co bądź teatry dramatyczne świecą pustkami, podczas gdy przybytkom farsy i wodewilu wiedzie się nie najgorzej a najlepsze interesy robią tingltagle, gdy się nazwą jakimś „à la" i częstują publiczność produkcyą paryzką. Ten sam filister, który jest za leniwy by uczcić oklaskami artystę dramatycznego, wyje i tupie, gdy usłyszy tłustą piosenkę z bruku paryzkiego. Jeżeli Sudermann zdołał przez niejakiś czas utrzymać się na scenie i być w łaskach u publiczności, to zawdzięcza to specyficznie berlińskiemu charakterowi swych sztuk. Rozumie się, że paradoksy aktora były wielce na rękę trzeźwemu berlińczykowi. Zamiast „Ich habe die Ehre mich Ihnen zu empfehlen", powtarzał za hr. Trastem z „Honoru" „Ich habe das gemeine Vergnügen". Jestto „echt berlinisch". Zacny bankier, którego słowa wieńczą sztukę („Alež hrabio, dlaczegoś mi od razu tego nie powiedział?") jest żywcem pochwycony z gro-

---

SZCZĘŚLIWY. Milcz! Milczże! — (*siada*) Tutaj jesteśmy w ukryciu i ciemności.

NIESZCZĘŚLIWY. Tak, tutaj jesteś pewny — tu twarzy mojej widzieć nie możesz.

SZCZĘŚLIWY. Czyś osiwiał?

NIESZCZĘŚLIWY. Z tęsknoty.

SZCZĘŚLIWY. Ja jednak tym samym pozostałem.

NIESZCZĘŚLIWY. Nie! Poznałem natychmiast, że i ty osiwiałeś.

SZCZĘŚLIWY. Czy możesz i rysy me widzieć?

NIESZCZĘŚLIWY. Powiędły.

SZCZĘŚLIWY. Ja — ja — o! jam tak strasznie cierpiał.

NIESZCZĘŚLIWY. Mamy tedy ze sobą mówić. Czy się do początku wrócimy? Do dnia letniego, w którym przechadzaliśmy się po alei tam i nazad. Ty dwudziestoczteroletni, ja dwudziestotrzechletni młodzian, dobrzy przyjaciele, zawsze razem, od dni naszego dzieciństwa. Żaden nie chciał jej odstąpić — jej jej! Jam był pierwszym! jam się przed tobą ze snami memi zwierzył, jam ci przecież ufał wówczas we wszystkiem. Potem oczy twoje ją spostrzegły, — przedtem nie widziały jej prawie. Pomnisz, jak ci w alei powiedziałem, iż ten ją posiędzie, co ją sobie zdobyć zdoła? Chcieliśmy uczciwie ze sobą postąpić, chcieliśmy przyjaciółmi pozostać.

SZCZĘŚLIWY. To przecież nie było możebnem.

NIESZCZĘŚLIWY. Dla ciebie. Lecz — chcieliśmy walczyć — ten ją miał posięść, kto ją sobie zdobyć zdoła.

SZCZĘŚLIWY. Czyż nie zdobyłem jej sobie?

NIESZCZĘŚLIWY. Dla tego też jest twoją.

SZCZĘŚLIWY. Lecz czy się cofnąłeś?

NIESZCZĘŚLIWY. Wszakże ją sobie jeszcze zawsze zyskać mogę.

SZCZĘŚLIWY. Prześladujesz nas.

NIESZCZĘŚLIWY. Nie! trzymam się jeno blisko, czekam.

SZCZĘŚLIWY. Na co?

NIESZCZĘŚLIWY. Gdyby nie ta wiara, nie żyłbym.

SZCZĘŚLIWY. Jakże nas odnalazłeś?

NIESZCZĘŚLIWY. Chodziłem światem. Wzrok mój najwyższe przeskakiwał mury, przez najnieprzenikliwsze zaglądał gąszcze, po miejscach samotnych, tam cię szukałem.

SZCZĘŚLIWY. Tedyś przez całe te pięć lat szedł śladem naszym?

NIESZCZĘŚLIWY. Od onego wieczoru. W pierwszych dwu latach po owej chwili, w której twoją się stała, tak rzadko mię spotykałeś, jak rzadko się błąwat na ławicy nadmorskiej spotyka. Lecz mój wzrok cię strzegł, uwagi mej nic nie uszło. A potem powiedziałem ci... — wszak pomnisz jeszcze? tego samego wieczoru? — Postradałeś ją znowu! nie jest już tedy twoją. Następnego poranku uszliście, jam myślał o drżeniu twojem. Ty drżałeś, gdym do ciebie mówił.

SZCZĘŚLIWY. Wszakżem ją sobie zdobył! Wszakżem ją sobie zdobył!

NIESZCZĘŚLIWY. W chwili upojenia. Minęło wszystko, gdy oczy przejrzały.

SZCZĘŚLIWY. Silną masz wiarę.

NIESZCZĘŚLIWY. Gdyby nie ona, nie żyłbym.

SZCZĘŚLIWY, Nie wspomniała nigdy twego imienia.

NIESZCZĘŚLIWY. A jednak w myśli jej zawsze mieszkam.

SZCZĘŚLIWY. Wierzysz w to?

NIESZCZĘŚLIWY. Ty także! Gdyby tak nie było, nie lękałbyś się mnie! Nigdzie nie znajdujesz pokoju..., gdy na cię spojrzy, z oczu jej mój obraz ci błyska... gdy do ciebie mówi, mego głosu oddźwięk jeno słyszysz.

SZCZĘŚLIWY. Widziałeś ją?

NIESZCZĘŚLIWY. W myśli.

SZCZĘŚLIWY. Jest zawsze taką, jaką była.

NIESZCZĘŚLIWY. Tak, zawsze. Dla mnie zawsze nią będzie. Lat pięć jednak o dwadzieścia ją uczyniło starszą.

SZCZĘŚLIWY. Skądże wiesz o tem?

NIESZCZĘŚLIWY. Gdybym nie wiedział o tem, nie kochałbym jej. Widzę wzrok jej, kiedy jej oczy przymknięte, słyszę

na bywalców Café Bauer pod Lipami. A czyż córka stolarza nie jest nieodrodną córą Berlina, ta dziewica szukająca bogatego „Verhältniss“. W leksykonie jej wyraz „cnota“ należy do archaizmów a w jej filozofii wyraz „zabawa“ jest kwintesencyą życia. A to rodzeństwo, sprzedające cnotę dziewczyny na wagę złota lub papieru, noszącego stempel banku państwa — toć to z krwi i kości berlińczycy! Dla hr. Trasta widz berliński czuje wielki szacunek, jakkolwiek nie łudzi się co do tego, jak należy rozumieć owo wymyślone przez Sudermanna wzbogacenie się na kawie brazylijskiej.

Takie cięgi dostają się Berlinowi z ręki autora broszurki, który odmawia stolicy państwa Niemieckiego zdolności i zasług i na wszelkich innych polach kultury ducha. Dowcip berliński jest, jego zdaniem, płaski. Berlińczyk nie zna, co to humor. W dziedzinie muzyki jest profanem. Żaden berlińczyk nie skomponował opery. Mascagni zaimponował Berlinowi, gdy jakiś reporter rozgłosił, iż wielki kompozytor jest szczęśliwym posiadaczem 500 jedwabnych krawatów. Berlin zupełnie słusznie przywłaszczył sobie hegemonię na polu ulicznej piosenki walców. Zresztą decyduje tu nie muzyka lecz słowa. Treść musi bezwarunkowo potrącać berlińskie życie. Po dzień dzisiejszy wygrywają katarynki całych Niemiec, wywiezione z Berlina „Im Grunnewald, im Grunnewald ist Holzauktion“. Pieśni ludowe zostają wyrugowane przez berlińskiego walca. Stare sentymentalne rzeczy w rodzaju Heinowskiej „Ich weiss nicht was soll es bedeuten“ idą w zapomnienie lub szukają schronienia w odległych zakątkach państwa.

Uliczny gamoń jest sędzią konkursowym, gdy idzie o oddanie palmy pierwszeństwa temu lub innemu walcowi. Kompozytor, który trafi mu do przekonania, stanie na poziomie jego sztuki gwizdania, zarobi krocie!... Berlińskie gazety roznoszą żargon berliński po całej prowincyi, zarażając język niemiecki dziwolągami barbarzyńskiemi. Tu autor jeszcze raz uderza na alarm i zachęca do walki przeciw żywiołowi berlińskiemu.

F.





Obrazki lwowskie.

III.

(Obchód żałobnej rocznicy.)

Lwów który w porównaniu z Krakowem pomawiano niekiedy o brak patryotyzmu, zaznaczył przecież w rocznicę ostatniego rozbioru Polski (24-go z. m.), że wszystkie warstwy jego ludności, od inteligencyi aż do nizin społecznych, wstrząsnęło bolesne wspomnienie rozdartej i mocującej się ze śmiercią ojczyzny. Świątynie różnych wyznań, w których zrana odbywały się nabożeństwa, przepełnione były, na ratuszu powiewała czarna chorągiew, publiczne zgromadzenia w sali ratuszowej i w lokalu robotniczego Towarzystwa „Gwiazda“ przyciągnęły setki osób, dzienniki niektóre ukazały się z czarną obwódką, a nastrój całodzienny wskazywał, że obchodzimy jakąś wielką żałobną rocznicę.

Czy mogło być inaczej? zapyta czytelnik, — czy wobec rocznicy wypadku, który przekształcił postać Europy, zakończywszy brutalnie polityczną działalność kilkunastumilionowego narodu, mogą obojętnie zachowywać się synowie tych, na których ciałach i duszach dokonano wiwisekcyi? Oczywiście nie, chociaż wobec różnobarwnego pod względem narodowościowym składu miasta, przewagę polskiego elementu i polskiej idei zawsze z radością konstatować należy. Nie zapominajmy bowiem, że Lwów to stolica Rusi Halickiej, że z mieszkańców Rusi tylko dwa miliony rusinów do Galicyi należy, a pozostała wielomilionowa rzesza znajduje się w granicach rosyjskiego państwa pod bezpośrednim wpływem Moskwy. Palącem przeto zagadnieniem dla nas Polaków jest, co przeważy wśród Rusinów, czy dążność narodowościowa, której rozwój i powodzenie możliwem jest jedynie pod liberalniejszemi rządami Austryi, czy też moskalofilskie tendencye, które w Galicyi dzić bankrutują (stronnictwo moskalofilskie nie przeprowadziło podczas ostatnich wyborów ani jednego posła do sejmu). Pamiętać również należy, jak licznym jest żywioł żydowski we Lwowie, ile on w swym ręku posiada kapitałów i jak silne wśród niego separatystyczne dążności. Chwila przecież była zbyt poważną i uroczystą, aby owe tu i owdzie wybuchające antipolskie tendencye w jakikolwiek sposób zabarwić ją miały.

Otóż uroczystość w ratuszu, oprócz licznej publiczności zgromadziła i oficyalnych, że tak rzeknę, przedstawicieli idei polskiej, a więc reprezentowanym był uniwersytet w osobie rektora Balzera, politechnika przez rektora Pawlewskiego, zjawili się też posłowie miasta Lwowa z wyjątkiem dr. Smolki. Nie było przecież arystokracyi, ani biskupa Morawskiego, – za to nie brakło arcybiskupa Isakowicza. Przemówienie profesora Majerskiego deprymująco oddziałało na zgromadzonych.

Trudno słowom jego odmówić słuszności, kreślił on bowiem wszystkie sprężyny, które doprowadziły do upadku Polski, przedstawił moralną zgniliznę klas, które stanowiły w owe czasy właściwych przedstawicieli społeczeństwa, narzekał na bierność narodową, która dopuściła wreszcie fakt wykreślenia narodu z karty Europy. Zrozumienie interesów swoich, miała Polska, jak twierdził mówca, tylko za czasów piastowskich. Jagielloni już idei narodowej nie szanowali, a królowie obieralni, obcego pochodzenia, niezespoleni z narodem sympatyczną nicią wspólnej przeszłości, ostatecznie o niej zapomnieli. Pocieszającym przecież wydał się mówcy fakt, że losami Polski rozrządzała przed stu laty garść, a nie całość narodu, że ona to oplątać się dała podszeptom własnej samowoli i wpływom zagranicznych dworów, — milionowy naród szlachecki natomiast, narzędzie w ręku panów, stał daleko od świata, a więc i daleko od ostatecznego upadku. W najczarniejszych godzinach występowały promienne postacie jak wielki Staszyc, jak Czacki, Kołłątaj, jak

---

myśl jej, gdy milczy. Powiedz, czemu skarży się we śnie?

SZCZĘŚLIWY. Czyś słyszał?

NIESZCZĘŚLIWY. Jedno słyszałem rzeczywiście wieczorem, w nocy — poprzez zawarte okiennice — a wtenczas nie spała. Głos jej drżał a jęczał. Było to jakoby jeden wielki krzyk, na wiele małych rozdzielony. Ona jest chorą.

SZCZĘŚLIWY. To przyszło w ostatnich latach.

NIESZCZĘŚLIWY. W ostatnich pięciu latach.

SZCZĘŚLIWY. Coraz częściej i częściej. Jej ciało w kurczach się wije, z ust piana się toczy — cierpi, cierpi, ach, cierpi! Wszystkiegom próbował, wzywałem lekarzy ze wschodu i zachodu....

NIESZCZĘŚLIWY *(wstaje)*. Słuchaj! Słuchaj! oto znowu! Jak ona jęczy! Czyż jej nie możesz uwolnić? Nie możesz?

SZCZĘŚLIWY. Nie mogę.

NIESZCZĘŚLIWY. Tedy idźże, idź na górę do niej! Głaszcz, głaszcz jej lice! Całuj strwożone jej oko! Podłóż twe ramię pod umęczoną jej głowę! Dobranoc! *(odchodzi)*.

SZCZĘŚLIWY *(woła za nim.)* Idź! Precz! Potknij a zatocz się po kamieniach! Uderz o drzewo! Nienawidzę cię! Łupieżco, złodzieju ty! Czemuż cię nie zdławiłem?

* * *

Akt II.

(Ranek. Poddasze w wiejskiej gospodzie. Przez okno w dachu zagląda słońce i kładzie się na pobielonych ścianach. Łóżko z siennikiem, kulawe krzesło, prosty stół sosnowy, zresztą żadnych nie ma sprzętów. Cały zbytek stanowi książka, którą Nieszczęśliwy czyta i pół podkowy nade drzwiami. Ktoś puka.)

SZCZĘŚLIWY *(wchodząc)*. Teraz widzę, oświałeś istotnie. Zda ci się pewno, że i ja?

NIESZCZĘŚLIWY. Widziałem cię przecież niedawno w ciemności.

SZCZĘŚLIWY. Nie swojsko tu.

NIESZCZĘŚLIWY. Wiesz, żem nigdy bogatym nie był, w ostatnich czasach bogatszym się nie stałem *(wstaje)*. Weź sobie to krzesło! Ja na łóżku usiądę.

SZCZĘŚLIWY *(siada)*. Czyż się nie dziwisz odwiedzinom moim?

NIESZCZĘŚLIWY. Czekałem cię.

SZCZĘŚLIWY: Jednak nie przeczuwałeś, iż to ja pukałem.

NIESZCZĘŚLIWY. Poznałem krok twój na wschodach.

SZCZĘŚLIWY. Potknąłem się, słyszałeś?

NIESZCZĘŚLIWY. Po tem cię poznałem — powiedz, czego żądasz?

SZCZĘŚLIWY. Chciałem cię zobaczyć.

NIESZCZĘŚLIWY. To nieprawda.

SZCZĘŚLIWY. Ja... chciałem z tobą pomówić.

NIESZCZĘŚLIWY. I to nie jest prawdą.

SZCZĘŚLIWY. Cóż tedy?

NIESZCZĘŚLIWY. Ona umiera.

SZCZĘŚLIWY. Któż ci to powiedział?

NIESZCZĘŚLIWY. Jej jęk był jakoby płacz dziecięcia opuszczonego.

SZCZĘŚLIWY. Ja.... ach, tego już znieść nie mogę. W noc i w dzień, w noc i w dzień, ach, jak ona cierpi! Ach, jakże ja cierpię! ....Tedy już powiedz wreszcie! Wszakżeż tak dobrze wiesz, po com tu przyszedł? Tedy już powiedz!

NIESZCZĘŚLIWY. Sam powiedz!

SZCZĘŚLIWY. Chcesz pójść do niej?

NIESZCZĘŚLIWY. Chcesz jej dać wolność?

SZCZĘŚLIWY. Nie mogę. Czy chcesz mimo tego pójść do niej?

NIESZCZĘŚLIWY. Czy wiesz, co lekarz czyni, gdy chorego uzdrawia, któryby bez pomocy jego zginąć musiał? Obdarza człowieka życiem, stwarza człowieka. Pojmujesz ty, co to znaczy? A gdy on wie, iż to życie najstraszniejszą nędzą będzie, która człowieka tego oczekuje? Czyż nie sądzisz, iż lekarz ów wtenczas zdrady niejako na umierającym się dopuszcza?

SZCZĘŚLIWY. Nie trać chwil drogich. Czas nagli.

NIESZCZĘŚLIWY. A wieszże ty też, czego odemnie żądasz?

SZCZĘŚLIWY. Byś jeno był u niej, by jeno czuła, żeś przy niej. Tak! widzisz, co ze mnie się stało, jestem u ciebie i żebrzę, tak nisko upadłem! ni snu, ni spokoju...

wreszcie nieśmiertelny Kościuszko. A cóż dopiero mówić o zastępach ludu miejskiego i wiejskiego, który do życia narodowego zbudził się tylko chwilowo, podczas powstania Kościuszkowskiego.

Mówca zakończył przemówienie swoje wezwaniem, abyśmy przestali być biernymi, a stali się społeczeństwem czynnem w myśl niedopowiedzianych haseł konstytucyi trzeciego maja i rzadkich wprawdzie, ale promiennych gwiazd, które rozjaśniały przed stu laty ponury horyzont naszego narodowego życia.

Następnie głos zabrał p. *Romanowicz*, w którego mowie brzmiały akcenty szczerze patryotyczne. Twierdził on, że stuletniej niewoli kraju uważać nie można za śmierć, lecz za chwilowe więzienie, po za obrębem którego jest swoboda i światło. Zresztą p. R., urodzony mówca, potrafił porwać za sobą publiczność i zarówno mową swoją jak i akcesoryami silne sprawił wrażenie. Po za mówcą stało śpiewackie towarzystwo „Echo“, które końcowy okrzyk jego „jeszcze nie zginęła“ powtórzyło w donośnym hymnie „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Parę set osób, przeważnie pań i młodzieży zgromadziło się również w „Gwieździe“. Prezes Gwiazdy p. *Starkel* w gorącem przemówieniu podniósł ważniejsze momenty rozbioru Polski, kończąc wyrazem nadziei w żywotność polskiego narodu. Końcową myśl podniosła przemawiająca po nim p. *Marya Wysłouchowa*, która dowodów na poparcie twierdzenia o żywotności narodu polskiego i przewodniczących mu idei wolności, równości, niepodległości, szukała w powstaniach z bieżącego stulecia, w manifeście Towarzystwa demokratycznego i w odezwie komitetu centralnego, ogłoszonej w dniu rozpoczęcia stuwiekowego powstania.

Teatr w dniu rocznicy wystawił „Kościuszkę pod Racławicami“. Trudno powiedzieć, aby przedstawienie było zadawalniającem. Postać Kościuszki zwłaszcza wypadła w interpretacyi p. Woleńskiego bardzo słabo, a dodajmy, że i samemu Anczycowi mniej się od innych udała. Pomimo to i pomimo, że najwięcej w sztuce na uwagę zasługujące sceny zbiorowe wymagałyby znacznie liczniejszego personału od tego, jakim scena lwowska rozporządzać może, wrażenie wywierane przez utwór Anczyca jest zawsze wielkiem i publiczność za sobą porwać musi. Poeta był istotnie w jednej z najlepszych chwil swego natchnienia, gdy tworzył „Kościuszkę“, i nie domyślał się może nawet, jak potężnym środkiem agitacyjnym sztuka jego być może. W teatrze zauważyć można było dzieci, służące, rzemieślników, którym pokazać chciano w rocznicę pogromu ten moment narodowego tryumfu.

Lwów, rozpamiętując stuletnią niewolę kraju, krzepił się słowami nadziei, powtórzmy więc z nim razem: „Jeszcze nie zginęła“!

S. Z. D.

JERZY BRANDES.

—

DWÓR WIEJSKI

w Krolestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

Jeden z obecnych autorów dodaje: „Nie wyobrażajcie tylko sobie, moi państwo że się tem martwi. Kpi sobie ze sztuki, tak jak nasi malarze w Monachium, i zarabia pieniądze. Wiesz pan co oni robią? Oto malują naprzykład scenę z polowania na Litwie, wśród zimowego krajobrazu. Handlarz uważa, że obraz się podoba i zamawia go w czternastu egzemplarzach do Ameryki, dostają 5000 marek za każdy i przez cały rok okrągły smarują tę samą śnieżną polankę i to same polowanie.

„Nie da się zaprzeczyć, iż istotnie tak rzeczy stoją — wtrąca pani Marya — pamiętam to doskonale z dłuższego mego w tem mieście pobytu i właśnie to mam naszym malarzom tak monachijskim jak i innym do zarzucenia“.

„O! już co panie, to nie mają chyba prawa zabierać w tych kwestyach głosu, — protestuje malarz — bo podczas gdy my cośkolwiekbądź malujemy, panie nasze zajęte są jedynie obstalowywaniem sukien u swych modniarek.“

„Właśnie — i to nam zaszczyt przynosi. Zauważ pan tylko, czy kiedykolwiek chociażby powtarza się ta sama suknia. Wy stwarzacie obrazy, dzieła, my nie mogąc tego, jesteśmy też artystkami na swój sposób według możności i stwarzamy stroje dla siebie. Nie jest to już zwykłem zajęciem, lecz poprostu kompozycyą, zwracamy całą usilność naszą na sam pomysł, kombinacyą barw i harmonią całości, a nie powtarzamy się nigdy, nawet po upływie długiego czasu.

„Widziałeś mnie pan przed paru dniami, — zwraca się do mnie jeden z dziennikarzy, w restauracyi u Brühla na śniadaniu, z naszym redaktorem i drugim brodatym mężczyzną; czy zgadłbyś pan kto to był? Oto cenzor rosyanin, któremu jest powierzony nadzór naszego pisma, zaprosiłem go na śniadanie, bo musiałem to uczynić. — Widzisz pan, do czegośmy doszli i jak głęboko upadli! Groźny, polski lew, którego się niegdyś tak obawiano, zamienił się w pudla, co aportuje.

„Gdy pan tu byłeś poraz ostatni, — mówi młody poeta, mieliśmy jeszcze prawo trzymać w redakcyach gazety zagraniczne, jakie nam się podobało, dziś mamy tylko spis dozwolonych, a liczba ich bardzo nie wielka.

Nie wolno nam przedewszystkiem bez żadnego wyjątku trzymać pism galicyjskich, a jeszcze srożej wzbronionem jest przedrukowywanie z nich jakiegokolwiek artykułu. Jeśli wycinek z której z nich znalezionym jest w zaadresowanym do nas, rekomendowanym liście, to płacimy za to olbrzymią karę pieniężną, chociażbyśmy ani o to prosili, ani nic o wysłaniu do nas nie wiedzieli; nie wysyłający bowiem ponosi karę, lecz adresat. Gdy się zdarzy, że który z naszych korespondentów w Galicyi przez lenistwo, zamiast opisać fakt jakiś własnemi słowami, użyje wyrażeń dopiero co wyczytanych w którejkolwiek gazecie, jesteśmy najsurowiej karani za jego nieoględność i niedbalstwo. Porównują tekst tego listu z gazetą, a gdy się znajdzie podobieństwo wyrażeń, wtedy bij zabij na nas. Kara za takie *przestępstwo* wynosi ni mniej ni więcej tylko 1000 do 1500 rs. I z każdym dniem jest gorzej, możemy się nareszcie doczekać chwili, gdy nam zupełnie wzbronionem będzie pisać i drukować po polsku, tak, jak już nie wolno pisać po małorusku i mówić publicznie, lub na ulicach, po polsku, na Litwie, Wołyniu, Podolu i Ukrainie. W zakładzie głuchoniemych w Warszawie wprowadzonym został wykład jedynie w języku rosyjskim. Dziecko więc opuszczając zakład nie może się porozumieć ze swą polską rodziną. A przyjrzyj się pan naszym autorom i dziennikarzom, jak się wyczerpują w tej nużącej, bezowocnej pracy. Znasz pan dobrze naszego wybitnego Aleksandra Świętochowskiego, tego radykalistę z oczami poety, porównaj pan jego pióro z przed 7—8 laty z tem, co z pod niego teraz wychodzi, a zauważysz pan z łatwością zastój, jeśli nie cofanie się wstecz. Zle jest i cała nasza nadzieja spoczywa w przyszłej wielkiej wojnie, która tak długo czekać każe na siebie, ale do której przecież przyjść musi nareszcie.“

„Dajmy pokój wojnie, — dorzucił ktoś inny. Wiemy wszyscy, że musi ona być, ale nie nadejdzie prędzej, gdy o niej mówić będziemy. Staliśmy się narodem, który nie żyje w obecnej chwili, lecz częścią we wspomnieniach, częścią zaś i to prawie zawsze, w dalekiej przyszłości. Prawdziwym obrazem polskiego narodu jest przedstawiona w jednej z naszej powieści (Od jutra) rodzina, która z drogą przeszłością w sercu, żyje niedźwie jedynie myślą powrotu do niej, nie dbając prawie o to, co się z nią dzieje obecnie. Nie tyle wyczerpały się nasze siły i zdolności, jak powiada kolega, ile zmuszeni jesteśmy bardziej niż kiedykolwiek uciekać się do odmówień i alegoryi. Niedawno została wydaną u nas pięknie ilustrowana książka, będąca zbiorem legend o Matce Boskiej, która zwróciła na siebie ogólną uwagę. Same już odczyty na ten temat zgromadziły ogromnie wiele publiczności, a cóż w nich było szczególnego, oto to, że dawne nasze staropolskie określenie: „Virgo mater, regina Poloniae“ sprawiło, że każdy w postaci Przenajświętszej Dziewicy szukał alegoryi i czegoś, coby się naszej Polski tyczyło.

Niejednokrotnie w ten sposób uda nam się coś przeprowadzić, jakkolwiek cenzorzy wietrząc wszędzie coś podejrzanego, robią często najkomiczniejsze poprawki, jak tego dowodzi fakt z wystawioną w przeszłym roku polską operą. Słowa do jednej aryi brzmiały tak: „Kochałem matkę moją bardziej niż jakąkolwiek kobietę. Od chwili gdy mi jej zbrakło, wszystko straciło dla mnie urok na tym świecie.“ Cenzorowie utrzymywali, iż słuchacz przy słowie m a t k a będzie miał na myśli o j c z y z n ę, i żądali, by zostało zmienionem na c i o t k a... co też ostatecznie zostało przeprowadzonem. Śpiewano więc: „Kochałem moją ciotkę bardziej“ itd

Grano tu tej zimy sztukę Sudermanna „Heimat“ ale na żądanie cenzury, tytuł jej

---

NIESZCZĘŚLIWY (*wstaje*). Tedy chodźmy! Pójdę. Ty zostajesz?

SZCZĘŚLIWY. Jedno mi tylko powiedz. Gdy u niej będziesz, co uczynisz?

NIESZCZĘŚLIWY. Lękasz się? żądasz układu? czy ma mi być dozwolonem włos jej pogładzić? zimną jej rękę w dłoni mej rozgrzać? na czole jej pocałunek złożyć?

SZCZĘŚLIWY. Nie wolno ci tego.

NIESZCZĘŚLIWY. Cóż jednak z tego, iż z tobą pójdę? Gdy u drzwi staniemy, nie odważysz się ich otworzyć.

SZCZĘŚLIWY. Nie wolno ci w oczy jej patrzeć, nie! czy słyszysz?

NIESZCZĘŚLIWY. Wszakżeż już od tygodnia z przymkniętemi leży oczyma.

SZCZĘŚLIWY. Ni w ucho jej szeptać!

NIESZCZĘŚLIWY. Gdyby przytomną była i słyszeć i rozumieć mogła, ciebie nie byłoby tutaj. Chodź! Czemuż tedy znów zwlekasz?

SZCZĘŚLIWY. Przyrzekasz mi?

NIESZCZĘŚLIWY. Pocóż ta ostrożność? Nie zabiorę ci jej — dziś nie — mogę czekać. Czyś słyszał, com ci przedtem o odpowiedzialności lekarza mówił? Pójdę przecież. Bo gdyby umarła, nigdyby już moją stać się nie mogła. Dla tego ją uzdrowię i ciebie jej oddam. Chodź więc! Wahasz się? Pozwól, iż cię ze schodów sprowadzę. Strome są.

(Dokończenie nastąpi).

odpowiadający znaczeniu „ojczyzna“ (?) zamienionym został na „Gniazdo rodzinne“.

„I temi to błahostkami zamęczają nas powoli na śmierć“ — zabrzmiało z kąta, — gdzie pod grupą palm, na szezlongu, na pół leżała panna Zofia. Wskazując przez szklanne ściany paluszkiem ku usianamu gwiazdami niebu, mówiła do siebie słowami francuzkiego poety: L'immensité! Vierge de flamme, Berce mon âme. — Félicité! Mon âme clame: L'immensité!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Uniwersytety ludowe
w Skandynawii.

Po kampanii 1870—71 z dumą twierdzili Niemcy, iż zwycięztwo swe zawdzięczają oświacie ludu — „dem Volksschullehrer“. Być może. Lecz od tej pory snać „zepsuło się coś“ w państwie niemieckiem — bo oto coraz częściej zdarzają się wypadki ilustrujące jaskrawo ciemnotę i demoralizacyę ludu wiejskiego. Rozkład i zgnilizna przenikły już w niższe warstwy społeczeństwa i w ludność wiejską — dotąd podwalinę i najzdrowszą część narodu.*) Szkoła ludowa najwidoczniej nie działa dość skutecznie, „Volksschullehrer“ nie potrafił środkami przez władzę przepisanemi uczłowieczyć swych wychowańców, wnieść w śpiące dusze pewien zasób pojęć moralnych, odpowiadających potrzebom życiowym. Ileż powinnoby się potężne państwo niemieckie w tej dziedzinie nauczyć od sąsiedniej, małej Danii, której południowe prowincye, zaokupowane w ostatniej wojnie zaborczej, stara się zniemczyć z zapałem godnym lepszej sprawy!

Uszczuplona oddarciem Szlezwiku i Holsztynu, znękana wojną i kontrybucyami wojennemi kraina, nie rozdrzemała się snem konającego. Wielkie ciosy budzą częstokroć narody z odrętwienia, dodają im nowych sił do rozpaczliwej walki o byt zagrożony, stają się ostrogą do żywej i energicznej działalności samozachowawczej na wszystkich polach życia narodowego.

Powstały szeregi ludzi dobrej woli, wzięły się do pracy i dziś zajmuje Dania pod względem oświaty ludowej pierwsze wśród narodów europejskich stanowisko, zawdzięcza zaś je w przeważnej części uniwersytetom ludowym, instytucyi równie pożytecznej jak i nieznanej w środkowej Europie. Bliższą znajomość historyi powstania, rozwoju i działalności tych zakładów naukowych zawdzięczamy odczytowi panny Maikki Friberg z Helsingfors, wygłoszonemu w Zurychu. Korzystając zeń, pragniemy w krótkim szkicu przedstawić działalność instytucyi, tak bardzo zasługującej na uwagę wszystkich tych, którym blizką jest sprawa postępu i oświaty.

Folkehojskoler czyli Uniwersytety ludowe*) są to wyższe kursa naukowe przeznaczone dla użytku dorosłej młodzieży, głównie dla ludności wiejskiej obojga płci. Myśl tych zakładów powstała przed 50-ciu laty, z Danii przejęły ją Szwecya, Norwegia i Finlandya, a w ostatnim dziesięcioleciu zaprowadzono je także w duńskich koloniach Ameryki północnej. Twórcą planu tych zakładów jest Seweryn Grundtwig, (1783—1872) znany duński poeta, historyk i duchowny. Śmiałe jego poglądy pedagogiczne znalazły swe wcielenie i praktycznie zostały wypróbowane w uniwersytetach ludowych. W pojmowaniu zadań życia, głównie zadań życia duchowego, różnił się Grundtwig zasadniczo od zdań swych współczesnych, a prawdopodobnie też i od poglądów dziś jeszcze pomiędzy pedagogami panujących.

Na zapytanie, jaki wiek uważać należy za najodpowiedzialniejszy do przyswajania wiadomości, odpowiadają wychowawcy bez wahania: „Wiek dziecięcy“. — Zdaniem zaś Grundtwiga jest nim wiek młodzieńczy, tj. lata pomiędzy 18-tym a 30-tym rokiem życia. Na zapytanie, w jakim wieku działa najżywiej wyobraźnia, brzmi zwykła odpowiedź: „W wieku dziecięcym“. Podług Grundtwiga atoli, wyobraźnia działa najżywiej w wieku młodzieńczym. Pomimo tej różnicy w zapatrywaniach zgadzają się jednak obie strony na to, iż czas nauki szkolnej i epoka najbujniejszego rozwoju fantazyi powinny przypadać jednocześnie, co też łatwo jest zrozumiałem. Właściwością wyobraźni jest pewna, że tak powiemy, zdolność wpatrzenia się w świat duchowy, wewnętrzny, bez której niemożliwem się staje przyswajanie wrażeń ze świata idealnego, pojęć oderwanych, relacyi o wydarzeniach odległych i przedmiotach niedostępnych bezpośredniej obserwacyi zmysłów. Do składników wyobraźni należy też pewna zdolność twórcza, która myśli zaczerpnięte z zewnątrz przyswaja i opracowuje, samodzielnie wytwarzając z zebranych materyałów indywidualną własność duchową. Warunków tych, zdaniem Grundtwiga, wyobraźnia dziecka posiadać nie może w stopniu dostatecznym i dla tego jest wielkim błędem pedagogicznym niszczyć przedwcześnie naiwny światopogląd, a przez to i równowagę duchową dziecka, zmuszać je do ślęczenia, na ławkach szkolnych obciążając mu głowę pojęciami przewyższającemi jego słabą zdolność pojmowania — obdzierać z uroku świetlaną epokę życia ludzkiego, w której synowie najmitów i synowie królów czują się jednako szczęśliwymi. Nic Grundtwiga przykrzej nie uderza nad przedwczesną mędrkowatość chłopców (Drengewidenskabelighet) oraz wypływającą z niej powierzchowną dojrzałość pełną zarozumiałości i przeceniania swych sił. Ze zdań tych jednak nie trzeba wnosić, iż dziecko nie powinno się niczego uczyć. Owszem! — do 12-go roku życia mają się dzieci nauczyć czytania, pisania, zasad arytmetyki, oraz znać także fakty z historyi własnego kraju i obcych narodów, głównie zaś znać w ogólnych zarysach przyrodę stron swojskich i cudzych. Rodzice religijni znajdą, ma się rozumieć, w tym czasie nie jedną sposobność do mówienia z dzieckiem o miłości Boga i bliźniego, atoli wszystko, co wywołuje konieczność krytyki i potrzebę wytworzenia własnego zdania, równie jak i wszystko co dla umysłu dziecięcego nie może być jeszcze zrozumiałem, powinno być z planu wychowawczego troskliwie usuwane. Wszechstronne, gruntowne wykształcenie, którego zadaniem jest zbudowanie silnych podwalin życiowych, nadanie jednolitego kierunku przekonaniom i dążeniom, rozpoczynać się powinno dopiero w wieku młodzieńczym. Wtedy bowiem budzi się samo poczucie i rodzi tęsknota za jasno wytkniętym celem życia, za rozszerzeniem widnokręgu myślowego, budzi się pragnienie ogarnięcia myślą całokształtu życia ludzkiego i znalezienia własnego w niem miejsca.

To zapatrywanie na wiek młodzieńczy jako na decydującą o obfitości przyszłego żniwa erę wiosenną, nie jest nowem, lecz nowem jest, iż mówiąc o reformie systemu wychowawczego, miał Grundtwig wszystkie klasy społeczeństwa w równej mierze na myśli. Pragnął, by i ci, którzy wiek dojrzały spędzają nad pługiem, nad warsztatem rękodzielniczym, lub na dalekich morzach jako marynarze, przejść mogli w zaraniu swego życia przez jasną, bogatą w treść epokę rozwoju młodzieńczego, epokę zaopatrującą umysł w siły moralne i w treść duchową na drogę życia. Za pośrednictwem ogólnego wyższego wykształcenia młodzieży pragnął też Grundtwig przyspieszyć polityczną dojrzałość ludu duńskiego. Po rewolucyi lipcowej r. 1830 zajmowano się w Danii gorąco kwestyą przedstawicielstwa ludowego. Grundtwig pierwszy w tym kraju podniósł zdanie, iż przedstawicielstwo to wymaga obywateli dojrzałych, wykształconych, świadomych swych praw i żądań, ludzi światłych, którzyby się umieli troszczyć o dobro swego kraju, zamiast stanowić ślepe narzędzie w ręku przywódców stronnictw. Największe znaczenie przypisywał nauce języka ojczystego, literaturze i historyi. Dokładne poznanie dziejów przeszłości, gruntowne obznajomienie z warunkami, w jakich żyły i rozwijały się minione pokolenia, są jedynemi środkami uniknięcia, by ludzie pragnący pracować dla dobrej sprawy sił swych nie trwonili w walce przeciw wiatrakom, lecz świadomie kroczyć mogli naprzód, szeroką drogą historycznego rozwoju, drogą spokojnych reform, w przeciwstawieniu do nieobliczalnych niebezpieczeństw przewrotów rewolucyjnych.

W licznych swych pismach podnosił Grundtwig znaczenie związku prawdy z rzeczywistością, pozostawiając twierdzenia, które tylko tak długo były prawdziwemi, jak długo nie opuszczały dziedziny dociekań oderwanych, myślicielom z obozu Hegla.

Szkołę w duchu swych poglądów pedagogicznych zamierzał Grundtwig założyć w Sor na wyspie Seeland. Atoli brak środków materyalnych stanął mu na przeszkodzie, — rząd odmówił mu swej pomocy. W krótkim jednak przeciągu czasu liczni jego zwolennicy zdołali drogą prywatnych składek zebrać fundusz dostateczny na ten cel, i pierwszy uniwersytet ludowy otwarty został w r. 1844 w Roding, na półwyspie Jutlandzkim. Kierownikiem był Kristian Flor, profesor uniwersytetu w Kiel. Wezwany do Roding, porzucił profesurę i jako gorący zwolennik zasad Grundtwiga, niezwłocznie udał się wraz ze swą rodziną do nowego „uniwersytetu ludowego“, by zamieszkać tam wespół z młodzieżą składającą się przeważnie z synów drobnych chłopskich posiadaczy ziemskich. W pierwszej tej szkole starano się wprowadzić w życie i rozwinąć idealne zasady Grundtwiga.

Zaangażowano najzdolniejszych nauczycieli, sprowadzono bogate zbiory pomocniczych środków naukowych, zaopatrzono szkołę w bibliotekę, zbiory mineralogiczne, botaniczne, zoologiczne, wprowadzono też praktyczny kurs gospodarstwa rolnego. Uczniowie przebywali w szkole przez dwie zimy i jedno lato. Co roku odbywały się wycieczki do Kopenhagi w celu zwiedzania licznych muzeów i zbiorów naukowych stolicy.

Atoli pierwsza ta szkoła miała wiele trudności do zwalczania. Biedniejsza ludność wiejska nie uczęszczała do niej przez nieufność, nawet otworzenie kursu gospodarstwa rolnego okazało się środkiem bezskutecznym na jej upór, dopiero następna, na prostszych warunkach przez Kristiana Kolda założona szkoła odpowiedziała całkowicie swemu celowi. Licznie uczęszczana przez synów najbiedniejszych wieśniaków stała się ogniwem pośredniczącem pomiędzy ludnością wiejską a późniejszym udoskonalonym uniwersytetem ludowym. Trudno byłoby znaleźć nauczyciela lepiej przygotowanego do posłannictwa ludowego nad Kristiana Kolda. Dzielny ten pedagog i przyjaciel ludu miał w sobie coś z ducha sokratesowego. Był początkowo misyonarzem

*) Patrz: Pastor C. Wagner: „Sittlichkeit auf dem Lande“.

*) Prof. dr. Zofia Kowalewska w „Wiestniku Jewropy“ nazywa je „Krestijanskija uniwersytiety“ tj. uniwersytety włościańskie czyli „chłopskie“.

w Azyi mniejszej, długie lata przebył w Smyrnie utrzymując się z introligarstwa, a uczuwszy wreszcie, że skuteczniejszą działalność rozwinąć może i powinien w kraju ojczystym, wrócił do Europy. Wysiadłszy na ląd w Tryeście, puścił się pieszo w drogę, tocząc przed sobą wózek z swemi rzeczami. Przewędrował w ten sposób całą Europę środkową. Podróż ta, (jak i działalność jego misyonarska, dały mu sposobność gruntownego poznania charakteru ludności wiejskiej, rozszerzyły znajomość ludzi, wzbogaciły go licznemi doświadczeniami. Był to człowiek niewzruszonych zasad i wielkiego charakteru, nauczyciel ludu „z Bożej łaski“.

Wróciwszy do Danii, wynajął w Jutlandyi chałupę wiejską, gromadząc w niej koło siebie synów najuboższych włościan okolicznych. Na zapytanie zdziwionych swych sąsiadów, w jakim celu zwołuje tych młodych ludzi, odpowiadał: „Chcę ich rozbudzić!“ Raz też na podobne pytanie Biskupa Monroda odpowiedział; „W 18-tym roku życia nauczyłem się kochać Boga, bliźniego i Ojczyznę, i to mię tak bardzo szczęśliwym uczyniło, żem już wówczas postanowił poświęcić życie swoje i siły, by innym młodym ludziom wlać w serca te same uczucia“. I dotrzymał słowa. Umiał wkładać głęboką, pouczającą treść w każdą rozmowę i w każdy wykład. Wpływ jego w samej rzeczy „budził“ dusze tych, którzy z nim obcowali. W szkole swej mieszkał razem z uczniami i jadał za wspólnym z niemi stołem. Po skończeniu wykładów, czytywał ze swemi uczniami najlepsze duńskie powieści historyczne i obyczajowe, poruszając w dyskusyi najrozmaitsze kształcące, żywotne kwestye. Ponieważ nauczyciel i uczniowie sypiali razem na strychu, rozmowy i rozbiory książek przeczytanych przeciągały się niekiedy późno w noc. Zapytania młodzieży i rozmowy pouczające nie ustawały i za stołem i przy pracy ręcznej. *J. Zan.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Z estrady i sceny.

(Fernanda.)

W czwartek ubiegły galwanizowano na scenie naszej ubezwładnioną już nieco „Fernandę“ Wiktoryna Sardou, a snać się galwanizacya udała, bo utwór ten przemówił głosem silnym i wzruszającym do publiczności szerokiej. Lubownikom literackich nowalii i smakoszom artystycznym trącił on niewątpliwie myszką, ale ten demonicznie zręczny, na nerwach grający, pełen sensacyjnych efektów Sardouizm nie przestanie nigdy wywierać głębokiego wrażenia na przeciętnych widzów. Zresztą temat rehabilitacyi upadłych kobiet, poruszony w Fernandzie, stanowi na równi z tematem wiarołomstwa małżeńskiego jeden z owych gordyjskich węzłów, który z tej i owej strony rozwiązać się starano, a który mimo to będzie zawsze otwartą a tem samem interesującą kwestyą. *Pardonnez! Fermez la porte! Tue la! méprise la,* — ileż to już podobnych haseł rzucano, starając się bez skutku nadać im charakter generalnej recepty. Kwestyi tej poprostu generalizować nie można; będzie ona zawsze kwestyą indywidualnego faktu, a i wtedy pozostanie sporną, względną i wątpliwą, zależną od kąta widzenia, temperamentu, subjektywizmu uczuciowego i osobistego udziału w nim sędziów. Tu poniekąd tkwi przyczyna dwóch wydań Fernandy z dwoma zakończeniami. W jednem mąż uwiedzionej przed ślubem kobiety postanawia po odkryciu hańbiącej tajemnicy *tolerować* w domu Fernandę, nie ma jednak odwagi *żyć* z skompromitowaną małżonką. W drugiem przebacza jej bez zastrzeżeń wszystko, zapomina o wszystkiem i tuli do serca tę, która padła ofiarą stosunków. Podobną dwoistość zakończenia skonstruował także w innych okolicznościach Ibsen dla swej Nory. Pierwotna bohaterka dramatu rzuca małodusznego męża i ciasny „dom lalek“ ze stanowczem słowem „Nie wrócę“, późniejsza żegna Helmera nadzieją: „Wrócę tu kiedyś może..... może....“ Są to, nie wykluczając innych jeszcze motywów, ustępstwa dla gustów przeciętnej publiczności, nienawidzącej zgrzytów i rozdźwięków a rozkochanej w słodkich finałach — ustępstwa dyktowane nieraz przez kramarzy, dzierżących w rękach swoich ster teatralny.

Tytułowa rola „Fernandy“ nie jest w sztuce główną i dominującą, — na pierwszy plan wysuwa autor mściwą Klotyldę, której odtworzenie powierzono p. *Paszkowskiej.* Przyznaję otwarcie, że wstępowałem w progi teatralne z pewnym sceptyzmem w duszy, bo lubo niejednokrotnie już podnosiłem, że w nowej bohaterce zdobyła scena nasza talent pierwszorzędny, to przecież akcentowałem równocześnie brak tych przymiotów, których rola Klotyldy nieodzownie wymaga: swobody i rutyny. Akt pierwszy nie zadał kłamu przeczuciom moim. Artystka stąpała po scenie chwiejna, krępowana trwogą i ambarasem, lecz gdy kurtyna po raz drugi w górę się podniosła, wtedy zalety tego wielkiego talentu przemówiły całą gamą tonów świeżych, subtelnych i potężnych. Od artystki tak młodej nie można oczywiście wymagać doskonałości wszystkich bez wyjątku szczegółów, lecz ogólny rysunek typu i plastyka najwybitniejszych momentów psychologicznych wyniosły kreacyą p. Paszkowskiej na wyżyny prawdziwej sztuki. Pierwsza to rola bohaterki naszej, która mówiła, — w drugim i trzecim akcie mianowicie, — że włożono w nią nietylko bogate zasoby dramatycznej siły i artystycznego czucia, lecz znaczne zapasy oryginalnej pracy i poważnych studyów. To też Fernandę stawiam najwyżej z wszystkich dotychczasowych występów artystki; — Amelja i Judyta miały tylko chwile wielkiego piękna, Klotylda była typem artystycznym, — pierwsze wyrosły pod okiem mistrzów-profesorów, ostatnia jest produktem samodzielnej pracy. Ta oryginalność tworzenia rozstrzygnęła definitywnie kwestyę scenicznych kwalifikacyi p. Paszkowskiej, a rozstrzygnęła ją w takiej roli, o której wyrazistą interpretacyę tylko wielki talent pokusić się może. Trudna scena aktu drugiego z Andrzejem i szał zemsty w dyalogu z Pommerolem stały się objawieniem nietylko siły dramatycznej, lecz artystycznego czucia, unikającego szczęśliwie jaskrawości barw i nieprawdopodobnych choć może efektownych akcentów. W chwili, gdy Klotylda symuluje ostudzenie miłości, by bicie serca w kochanku swoim podsłuchać, w chwili, gdy słowa Andrzeja jak grom uderzają w jej duszę, a ona usta zacina i w maskę wymuszonej obojętności kryje lica swoje, artystka zrozumiała dobrze, że nadto wyraziste grymasy trwogi i bólu wysyłane „n a s t r o n i e“ pod adresem publiczności stałyby się zaprzeczeniem praw realistycznego tworzenia, imputując bielmo na oczach partnerowi. Ta konwencyonalna dwoistość gry — wobec współdziałających z jednej, wobec widzów z drugiej strony — grasująca stale na poznańskiej scenie, zniknęła prawie zupełnie w interpretacyi p. Paszkowskiej. Artystka grała dla partnera swego i dla tego oblicze jej miało jakąś kamienną obojętność, tylko oczy grały przelotnie błyskiem złowrogim. Tem silniej przemówiła za to, na mocy prawa kontrastu, następna scena rozpaczy. Gdy sama z sobą została Klotylda i maska stała się zbyteczną, rozegrały się wszystkie namiętności w orkan potężny, a jeżeli podniosłem w jednej z dawniejszych recenzyi, że znamienną cechą talentu bohaterki naszej jest wybuch, to finałowa scena aktu drugiego i akt trzeci stały się piękną ilustracyą opinii takiej. Było coś przerażającego w grze p. Paszkowskiej, gdy Pommerol opowiadał historyę o zemście Sycylianki, i tyle temperamentu, tyle siły w scenę tę włożyła artystka, że w akcie czwartym wywierała wrażenie pewnego wyczerpania. Szkoda zaiste, że talent ten tylko za urlopem gości w Poznaniu i podobno z dniem pierwszego stycznia wraca na krakowską scenę.

W tytułowej roli Fernandy wystąpiła beneficyantka, pani M a j d r o w i c z o w a. Właściwości artystki tej scharakteryzowałem już niejednokrotnie, dziś zatem dorzucam tylko, że jest to indywidualność melodramatyczna, która w utworach takich jak „Dwie sieroty“ lub „Sierota z Lowood“ liczyć może na powodzenie, mniej natomiast zdobędzie uznania w zakresie poważnego dramatu. Posiada jednak pani Majdrowiczowa wyjątkową na scenie naszej zaletę: *pracowitość i sumienność artystyczną,* a o przymiotach tych świadczyła również rola Fernandy. W kobiecem otoczeniu tych dwóch bohaterek francuzkiego utworu wyróżniała się p. *Vernon* i p. *Wiśniowiecka.* Pierwsza w roli zazdrosnej Georgetty rozwinęła wiele scenicznej swobody, elegancyi i talentu charakterystycznego, druga w roli pani de Brionne stworzyła typ wyrazisty i żywy. Młoda ta artystka, której po raz pierwszy powierzono trudniejsze zadanie sceniczne, zdradzała chwilami pewne zalęknienie, ale głos jej dźwięczał czysto i żaden akcent fałszywy nie psuł tam harmonii.

W trudnej roli Andrzeja wystąpił pan *Wostrowski* i złożył nowe dowody uzdolnienia swojego. Nie znaczy to jednak, abym czwartkowy występ zaliczał do najwybitniejszych kreacyi w repertuarze tego artysty. Przeciwnie, psychologiczny rysunek zdawał mi się nieco bladym w akcie drugim, a końcowa scena z Fernandy miała kilka tonów nieszczerych i afektowanych. Prawdziwie silnym natomiast okazał się artysta ten w owej chwili krytycznej, gdy Klotylda o nocnej porze burzy szczęście jego rodzinne. Tu głos jego zagrał taką nutą stanowczości i tyle temperamentu było w mimice jego i ruchach, że potwierdził zupełnie pochlebne opinie, wypowiedziane w ocenie dawniejszych występów o talencie artysty tego.

Pan *Łaski,* któremu w zastępstwie chorego p. Skirmunta powierzono rolę Pommerola, nie zdążył oczywiście zadania swojego opanować i artystycznie wykończyć. Gra jego zdradzała bezustanną chwiejność i nawet niepospolita rutyna tego artysty nie zdołała maskować ambarasu. Natomiast należy się uznanie wyjątkowo starannej reżyseryi. Sceny *ensemblowe* odznaczały się potoczystością i umiejętnem ugrupowaniem, a nie miałbym nic do zarzucenia wystawie, gdyby nie dwie drobne, lecz rażące usterki. Wiem, że próby kostyumowe nie odbywają się w teatrze naszym, ale reżyserya powinna przynajmniej o tyle kontrolować tualety aktorów, by równocześnie nie występowała Georgetta w rotundzie o futrzanem kołnierzu i Fernanda w kapelusiku słomkowym. Te chęci popisywania się różnego gatunku strojami należy koniecznie poskromić tam, gdzie tego interes sztuki wymaga, bo scena nie jest wystawnem oknem modystki. — A w końcu jeden jeszcze komentarz. Jeżeli z toku sztuki wynika, że lustro ukazuje odbicie ulicy, jeżeli jeden z grających zwraca drugiemu uwagę na to odbicie, to należy sytuacyę przez odpowiednie ustawienie zwierciadła upra-

wdopodobnić. U nas jednak drwi sobie teatr z prawideł fizyki. Lustro swoją drogą i okno swoją, a ty publiczności wierz albo nie wierz, — cóż to obchodzi teatralnych fizyków!

W. R.

Na Wyłomie.

(Pod adresem Towarzystwa Przyjaciół Nauk.)

Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“ poruszono znowu kwestyę reorganizacyi tych „poznańskich Aten“. Czytano jakąś ciężką i nudną pracę historyczną, nadesłaną z daleka, a girlanda mężów poważnych otoczyła stół długi, na którym spoczywała księga mądrości. Zrazu panowała cisza wielka w tych murach, gdzie po tapicersku krepą ozdobiony portret Cieszkowskiego i gipsowe biusty Marcinkowskich, Koźmianów, Libeltów i Bentkowskich zdawały się mówić milczącemi usty; „Świątynio nauki ty o nas pamiętasz“, a echo ironicznie przedrzeźniało: Cmentarz! - I była wielka cisza. Po chwili jednak szmer szedł po sali i szepty, Jedni poufne gawędki wiedli z sąsiadami, inni niespokojnie z zegarkiem w ręku tańczyli na krzesłach, niektórzy wreszcie przymrużyli oczy i drzemali z akademicką powagą na twarzy. A monotonny głos prelegenta brzmiał wciąż nieprzerwanie i do snu śpiewał słodką kołysanką. Wreszcie zamilkł. Przewodniczący otwiera dyskusyę. Cisza. Kto głos zabiera? Cisza. Zdawało mi się tylko, że kamienne twarze tych biustów z marmuru i gipsu uśmiechały się dziwnie....

Wreszcie z grona słuchaczy ozwał się głos buntu, — jedno z owych „enfants terribles“ wyrastających coraz częściej w dusznej atmosferze tragikomedyi poznańskiej, wśród cukrowych kolacyi naszych kostyumerów i różnego kalibru *„Lobdumirskich Lobichdirskich“*. I oto wśród ludzi żywych i umarłych tak mówił ten wieczny oponent:

„Maska na bok! Nikt z nas odczytu osądzić nie umie, zaledwie jeden go słuchał uważnie. To nie dziś wyjątkowo się stało, to symptom chronicznej choroby naszej, a imię jej: *Poza*. Nam się wydaje, że ubliżymy tradycyi Towarzystwa, jeżeli wyzujemy akademickie koturny, i dla tego bezustannie udajemy akademją. Na posiedzeniach naszych wytaczamy ciężki aparat naukowy, pożyczany często z daleka w braku miejscowych produktów, i symulujemy uczoność, zapał, przejęcie. Czytamy rozprawy o „bractwach różańcowych“, o zagadkach lingwistyki, o starych zabytkach literackich, o monetach i wykopaliskach, a w tej pleśni, rdzy i patynie zasypiamy snem błogosławionych. Słucha sam prelegent i jeden, dwóch najwyżej fachowców, — reszta udaje ciekawość. W tej obłudzie i w tym archaizmie wydziału tkwi główna przyczyna jego anemicznej wegetacyi. Lękamy się dnia białego, lękamy się życia, jakby to tylko nosiło znamię powagi, co umarło i pleśnią porosło. Cenimy tylko profesorską togę, choć one dusi nasz rozwój, a najżywotniejszym zagadnieniom chwili drzwi zamykamy. Kwestya „oświaty ludowej“ puka do wrót naszych: „Pójdźcie, wejdźcie w naród i życie, podejmijcie akcyę nietylko abstrakcyjnie-naukową, lecz naukowo-filantopijną“, — my odpowiadamy: „Nie wolno! Statut akademicki stoi na straży bram naszych“. I dalej drzemiąc słuchamy odczytów o starych tekstach i historycznych włoskach, na czworo rozciętych. A przecież my akademią nie jesteśmy. Rozpatrzcie się tylko wokoło i członkom waszym zajrzyjcie w źrenice. Tu siedzi technik, tam budowniczy, ówdzie prawnik, dalej reporter, wreszcie teolog i bankier, — tacy członkowie składają olbrzymią większość Towarzystwa i na takich uczestników wydział historyczno-literacki liczyć tylko może. Naszych historyków i archeologów łatwo na palcach jednej ręki policzyć i dla tego posiedzenia zawsze świecić będą pustkami i dyskusya zawsze szemrać będzie milczeniem, jeżeli z akademickich wyżyn nie zstąpimy w niziny poznańskich stosunków, jeżeli profesorskiego wydziału nie zmienimy w kółko naukowe z hasłem popularności, aktualności i towarzyskości. Inne wydziały i pokrewne korporacye zrozumiały dawno niezbędność takiego kierunku. Jedni chwytają w lot każdą nowellę z dziedziny prawa, każdą kwestyę palącą z zakresu ekonomii, inni mówią o „wystawie etnograficznej w Pradze“ lub „stylu zakopiańskiej architektury“, my tylko uciekamy gdzieś w mroki dziejowe i przybytki starych pergaminów. Niechże sobie wreszcie roczniki Towarzystwa zatrzymają swój akademicki charakter, niech *ad hoc* wysadzone komisye zawodowe badają materyał nadesłany, ale na posiedzeniach naszych otwierajcie okna na rozcież: Niech strumień powietrza przepłynie, niech gwary życia zatętnią w tych murach.

Skończył malkontent, czekał odpowiedzi. Nastała chwila milczenia, a snać myśl wypowiedziana drzemać musiała w gronie zgromadzonych mężów, bo ani jeden głos zasadniczej opozycyi nie ozwał się w sali. Prezes Towarzystwa i prezes wydziału przyklasnęli nawet idei programowej, tylko pytali, gdzie inicyatywa, gdzie działacze nowego kierunku. Czyżby istotnie w pytaniu tem tkwić miała pięta Achillesowa projektowanej reorganizacyi? Mnie się wydaje, że ludzi nie zbraknie nowemu programowi, jeżeli tylko przekonamy społeczeństwo, że postanowienie nasze zerwania z tradycyą jest szczere i stanowcze. A pierwszy ten krok wyjść powinien ze strony kierowników. Ufając inteligencyi, ruchliwości i energii przewodniczącego wydziału, nie wątpię ani jednej chwili, że jeżeli tylko *głęboko uwierzy w konieczność reformy*, to wkrótce na ton inny nastroi posiedzenia Zorganizowanie szeregu popularnych pogadanek naukowych, w miejsce katedralnych odczytów, udać się musi nawet w tej nowożytnej Beocyi, której imię Poznań, a chociaż ludzie z początku zmianie prądów naszych ufać może nie będą, chociaż opinia „małej akademii“ nadto głęboko zakorzeniła się w publiczności, by w mgnieniu oka dokonać przewrotu, to bądź co bądź z posiedzenia na posiedzenie rość będzie liczba nawróconych. Tak długo pozowaliśmy na uczonych, archaistów i nudnych szperaczy, tak długo okazywaliśmy wstręt do każdej twórczości ducha ludzkiego, której pył wieków nie pokrył, że tylko *radykalny i konsekwentny* zwrot może nam znowu przywrócić sympatye inteligentniejszego obywatelstwa. I dla tego koniecznem jest usunięcie z posiedzeń wydziału historyczno-literackiego kilometrowych prac o zakroju akademickim, prac, przedstawiających interes jedynie dla małej garstki zawodowych badaczy. Te niechaj należą do komisyi, — uczestnicy posiedzeń żądają strawy popularnej i aktualnej, i taką strawę otrzymać powinni. Sprawozdania z najnowszych utworów belletrystyki, ocena wszystkich przedmiotów sztuki, ukazujących się na poznańskim bruku, kontrola czasopism naukowych, pogadanki o nowych kierunkach w literaturze i nowych zdobyczach historyi, odczytywanie oryginalnych utworów z dziedziny poezyi, żywe zajęcie się sprawą oświaty ludowej w tej lub owej formie, krytyczna ocena prowincyonalnego piśmiennictwa, rozpisywanie konkursów na oryginalne utwory powieściowe lub dramatyczne itp. rodzaje działalności zjednają nam niezawodnie wkrótce gorące uznanie społeczeństwa. Nie zapominajmy o tem, że Księstwo w ostatnich latach dwudziestu obniżyło znacznie swój poziom umysłowy, że zatem biret i toga Towarzystwa dziś więcej niż kiedykolwiek zakrawa na sztuczną dekoracyę. My sami czujemy już niestósowność takiego chodzenia na szczudłach, ale powtarzamy często, że tradycye nasze zachować należy *„pro honore domus“*. To małe słowo. Znam inne większe: *„Salus populi“*, — a ono właśnie dyktuje konieczność reorganizacyi wydziału dla rozbudzenia uśpionych umysłów.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* **Konkurs literacki „Czasu“** został rozstrzygnięty w niedzielę 3 bm. Na zaproszenie redakcyi pp.: prof. dr. Kazimierz Morawski, doc. dr. Maryan Zdziechowski i doc. dr. Stanisław Estreicher przyjęli udział w komisyi konkursowej, w której skład weszli także redaktorowie „Czasu“: Michał Chyliński i dr. Stanisław Tomkowicz.

Z nadesłanych na konkurs 89 nowel zostały dwie, a mianowicie: „Mądry chłop“, godło: „Nie dajmy się“ i „Za góry za lasy“, godło; „$_8/_{11}$“, wycofane na żądanie autorów, z reszty zaś przeznaczyła komisya do druku 12 rękopisów.

Ze względu, że z pomiędzy nadesłanych prac trzy zasłużyły na szczególne odznaczenie, uchwaliła redakcya „Czasu“ utworzenie trzeciej nagrody w kwocie 50 złr.

Pierwszą nagrodę w kwocie 300 złr. przyznano pracy p. t. „Ksiądz Piotr“, godło „Ypsilon“.

Drugą nagrodę w kwocie 100 złr. przyznano pracy p. t. „Nauczycielka“. godło „Jesteś czem jesteś“.

Trzecią nagrodę w kwocie 50 złr. przyznano pracy p. t. „Biblioman“, godło „Amo te ergo es“.

Po otwarciu dołączonych kopert okazało się, że:

Autorem pracy p. t. „Ksiądz Piotr“, jest p. Kazimierz Tetmajer, współpracownik „Przeglądu Poznańskiego“, autor drukowanych w piśmie naszem nowel p. t. „Rzeźbiarz Merten“ i „Ku niebu.“

Autorem pracy p. t. „Nauczycielka“ jest p. Tadeusz Miciński, słuchacz filozofii na uniwersytecie Jagiellońskim.

Autorem pracy p. t. „Biblioman“, jest pan K. M. Górski.

* **Największy grzech.** Otto Ernst, znany krytykom z kilku zbiorów poezyi i szkiców a wsławiony wśród inteligentnej publiczności niemieckiej pięknym wierszem „Troska“, wystąpił w tym tygodniu ze swym pierwiosnkiem dramatycznym. „Największy grzech“ — tak ochrzcono dziecko zrodzone z małżeństwa Ernsta z Melpomeną. Utwór ten w wielu miejscach przypomina „Uriela Akostę“, lecz kopia zwykle bywa niedorosła do poziomu oryginału. Jeżeli Akosta na tle sfanatyzowanego tłumu, wsparty o ramię słabej duchem kobiety i czerpiący siłę swą z rozżarzonej ogniem ideału wielkiej własnej duszy — robi wrażenie wstrząsające, to bohater „Największego grzechu“, nauczyciel Wolfgang nie oszałamia, nie imponuje a niekiedy śmieszy, jako mazgaj. Walczy on o postęp i wolną myśl i piorunuje przeciwko dogmatom. Przekonania swe stara się zaszczepić w młodem i gorącem sercu swej ukochanej, córki bogacza, z którą go zaręczono, gdy ocalił jej życie. Nowe horyzonty otwiera on przed duchowym wzrokiem narzeczonej; rozmarzona dziewczyna wsłuchuje się z zachwytem w szczytne słowa młodego mistrza. Z niekłama-

nym zapałem, z siłą, świadczącą o głębokiem przekonaniu, z oburzeniem, zdradzającem szczere, młodzieńcze serce, smaga nielitościwie tchórzostwo myśli, obłudę, brak tolerancyi i obskurantyzm. Z uniesieniem opiewa miłość ku bliźnim i upośledzonym. Siew wydaje plon. Narzeczona i młodszy brat umiłowali poglądy nauczyciela Wolfganga i „poszli za nim“. Młody zapaleniec, który gromił dwulicowość, nie waha się wykładać swych teoryi przed ludźmi, wyznającemi przekonania biegunowo przeciwne. Stara się on przychylnie usposobić dla swych poglądów przyszłego teścia i teściową, jakąś pannę dewotkę i pastora; rozumie się, chybia celu i musi opuścić dom rodzicielski narzeczonej. Ta jest jednak tak oddaną swemu mistrzowi, iż postanawia towarzyszyć mu w wędrówce po ciernistej drodze życia i miłością swą koić rany, zadane przez bliskich jej ludzi. Życie ich małżeńskie, nieuświęcone wprawdzie przez błogosławieństwo kapłańskie, staje się idyllą; a ponieważ „aller guten Dinge sind drei“, więc do szczęśliwej dwójki przyłącza się wkrótce szczęśliwe bobo. Nie zrażając się dotychczasowem niepowodzeniem, nauczyciel Wolfgang chce zaznajomić całe miasto ze swemi poglądami; czyni to w odczycie, którego skutki są wręcz przeciwne tym, jakie miał na widoku. Zostaje wyklętym i, zamiast anatemy, spotyka go klątwa bardziej nowożytna — „bojkot“. Za grzechy niepopełnione cierpi i teść, za herezyę nielegalnego zięcia cofnięto przyrzeczony mu tytuł radcy handlowego. Śmierć zawiera przymierze z współobywatelami Wolfganga; gdy ci pozbawiają go utrzymania, tamta zabiera mu dziecko. Smutek, nędza i choroba panują w mieszkaniu młodego nauczyciela i jego żony. Pod naciskiem rozpaczliwego położenia i naporem wyrzutów upadającej na duchu żony, młody odszczepieniec wraca na łono prawowierności. Teść cofa swe przekleństwo i wyciąga rękę ze szkatułką, gdy młody apostoł przyrzeka zaprzestać propagandy. To właśnie jest „największym grzechem“. Wyrzekłszy się swych przekonań, które porodził we łzach i boleczce myśli, które pielęgnował z całą miłością swej duszy i zapałem młodzieńczego serca, wyparłszy się tego, co było cząstką jego istoty, zahartowanej w ciężkich próbach życia i walkach myśli i o myśl, wprowadza się do pięknego mieszkania, ofiarowanego mu przez teścia. Na miękkich materacach ma uśpić dręczące go myśli, smacznemi potrawami ma nasycić głód ducha i żądzę mózgu, zabawy mają wykorzenić pamięć o doznanem upokorzeniu, o gwałcie dokonanym nad jego jestestwem. Jako przyjaciel domu bywa u nich krawiec, który wtajemnicza nieszczęśliwe małżeństwo w dzieje swych walk o niezależność przekonań; otwarte wyznawanie wolnomyślnych zasad sprowadza na niego, wskutek odpowiedniego tłomaczenia paragrafów prawa, trzechmiesięczne więzienie; towarzyszka jego życia wspiera go swą odwagą i zachęca do wytrwania w boju; lecz nim zasuną się za nim rygle więzienne, postanowił założyć stowarzyszenie postępowe, na czele którego ma stanąć Wolfgang.

Opowieść ta do tego stopnia wzrusza poczuwających się do „największego grzechu“ skruszonych i złamanych małżonków, że samobójstwem szukają wyjścia ze swego sromotnego położenia. Skuci miłością rozkuwają łańcuchy beznadziejnego życia.

* * *

* **Bartoszewicz o Sienkiewiczu.** Pod tym tytułem podaje warszawska „Niwa“ (Nr. 19) artykulik o wydrukowanej w naszym „Przeglądzie“ krytyce „Rodziny Połanieckich“. Oto jej słowa:

„Ile to u nas i wszędzie zresztą na szpaltach czasopism, — w tej lawinie zadrukowanego papieru, który się zjawia codziennie, czy co tydzień, — ginie bez śladu, bez wzmianki jednej, myśli podniosłych, świetnych, uderzających prawdą i zdrowiem moralnem. Żal serce ściska, gdy się pomyśli, że tak szybko idą w otchłań niepamięci, nicości niconal, artykuły, czy rozprawy, będące pracą długich miesięcy, tworzące owoc rozmyślań długich, dające czytelnikom naukę niejedną i niemałą. Godziłoby się zatem takie artykuły powtarzać i przez to przedłużać ich żywot. Do rzędu tych ostatnich należy również i krytyka „Rodziny Połanieckich“, napisana świetnem piórem Kazimierza Bartoszewicza. (W tem miejscu „Niwa“ podaje obszerny wyjątek z krytyki Bartoszewicza, — poczem dodaje jeszcze od siebie:) .... Wśród ogólnej powodzi pochwał, uniesień, zachwytów, ten głos trzeźwy krytyka wybitnego, wyrobionego, stoi odosobniony; niemniej przeto naszem zdaniem, po stronie Bartoszewicza, choć on sam jeden, tym razem jest słuszność.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** Nowy gabinet francuski przedstawił się izbie w ubiegły poniedziałek. Radykaliści i socyaliści przyjęli oklaskami deklaracyę rządową. Prawica i centrum słuchały programu w milczeniu, jedynie ustep o obronie rolnictwa zyskał sobie u stronnictw tych uznanie. Senat na deklaracyę odpowiedział lodową obojętnością. — Parlament niemiecki zwołany został na 3 grudnia. Z okazyi tej przypomina Germania „Radzie Związkowej“ uchwałe parlamentu dotyczącą przywrócenia Jezuitów. — Głośnemu profesorowi Delbrückowi wytoczono proces o obrazę politycznej policyi. Obrazy dopatrzono się w artykule, umieszczonym w „Preussische Jahrbücher“, a omawiającym stosunki policyi politycznej. — Wybór znanego antysemity dr Luegera na urząd nadburmistrza wiedeńskiego nie uzyskał sankcyi cesarskiej. Najzaciętszym przeciwnikiem Luegera jest podobno hr. Gołuchowski, minister spraw zagranicznych.

— **Teatr i muzyka.** Onegdaj odegrano na scenie naszej „Balladynę“. Obszerną ocenę odkładamy do numeru przyszłego, nadmieniając dziś tyle tylko, że wystawa odznaczała się, jak na stosunki nasze, wielką starannością. Zasługa i uznanie należą się p. Łaskiemu. — Dziś ukaże się na scenie teatru poznańskiego po raz pierwszy „Ciepła wdówka“ Bałuckiego; w repertuarze przyszłego tygodnia znajduje się wesoła farsa „Niobe“. — Kazimierz Zalewski ukończył nową sztukę czteroaktową pt. „Syn“.— P. St. Kozłowski złożył dyrekcyi teatrów pięcioaktowy dramat oryginalny p. t. „Turniej“. Treść zaczerpnięta jest z dziejów współzawodnictwa malarzy weneckich w dobie renesansu. — Paderewski koncertować będzie w Warszawie w miesiącu lutym. — W teatrze dysseldorfskim występuje z niezwykłem powodzeniem w operach wagnerowskich warszawianka p. Kaszowska. — Meiningeńczycy wprowadzili do repertuaru swojego Lindaua „Venus milońska“ i Molierowskiego „Tartuffe'a“. — Nowości repertuaru niemieckiego: Wolzogen „Daniela Weert“, Panizza „Dobry chłopak“. Schaumberger „Grzech przeciwko Duchowi świętemu“ i „Bella“. Wszystkie te utwory należą do kierunku realistycznego. — Były pruski minister wojny Verdy du Vernois napisał tragedyą w pięciu aktach p. t. „Alaryk“. — Sarze Bernhardt zarzuca prasa rzymska niepotrzebną „paryskość“ w Sudermanowskiem „Gnieździe rodzinnem“. — Hauptmanna „Święto rodzinne“ zjednało sobie wielki sukces w teatrze lipskim „Carola“. Akt drugi wywołał protesty. — Jan Strauss obchodził w dniu 25 zm. 70-tą rocznicę urodzin.

— **Próbka francuskiej uczoności.** Pewien lekarski dziennik francuski podał niedawno, jako rzecz godną uwagi pod względnm hygienicznym, szczegół, że w kopalniach Wieliczki istnieje całe miasto podziemne z ratuszem, salami na zebrania towarzyskie, kościołem, teatrem, dobrze zniwelowanemi ulicami, obszernemi placami, oświeconemi elektrycznością, i ludnością 10000 głów, wśród której znajduje się wiele rodzin, których członkowie od kilku już pokoleń na powierzchnię ziemi wcale nie wychodzą(?!). Przy tym ostatnim szczególe stoi znak zapytania, a następnie uwaga, że fakt ten jest najlepszym dowodem siły konserwacyjnej soli kuchennej (ce qui prouve une fois de plus la force de conservation du chlorure de sodium!) Nie ma co mówić, że jest to iście francuska informacya o najsłynniejszych na kuli ziemskiej kopalniach soli, licznie odwiedzanych przez turystów prawie z całego świata cywilizowanego.

— **Euzapia Palladino.** Telegram „Now. Wr.“ z Londynu donosi radosną wieść dla antyspirytystów, że Euzapię Palladino, głośne medyum neapolitańskie, spotkało najzupełniejsze *fiasco* w Cambridge, dokąd na szereg seansów była zaproszoną przez profesorów uniwersytetu. Wykryto wszystkie jej fortele. Palladino uciekła potajemnie z Cambridge. Cóż na to Warszawa?

Zmarli:

— **Ruggiero Bonghi,** publicysta i polityk włoski, zmarły d. 22 zm. w Torre del Greco, urodził się w Neapolu w r. 1828; miasto rodzinne porzucił w bardzo młodym wieku. We wszystkich większych miastach włoskich działał i wywierał wpływ w ciągu swego długiego żywota. Doszedłszy do dojrzałości, równocześnie był literatem, dziennikarzem, profesorem, nauczycielem prywatnym, estetykiem, filozofem, posłem, niejednokrotnie ministrem; przyjmował również czynny udział przy odkopywaniu starego Rzymu. Zmarły był gorliwym stronnikiem Francyi. Na polu literackiem debiutował w r. 1847, na polu dyplomatycznem w r. 1848 jako attaché przy ambasadzie rządu neapolitańskiego w Rzymie. Z dzieł jego do największych należą: „Życie i epoka Walentyna Pasini“, „Historya finansów włoskich“, „Mnich, papież, król“, „Leon XIII i Włochy“, „Portrety współczesne: „Cavour, Bismark, Thiers“, „Historya rzymska“ i wiele innych. Podczas dwuletniej karyery ministeryalnej (1874—76 r.) Bonghi zdobył sobie ogólne uznanie wprowadzeniem szeregu reform w ustawach uniwersyteckich.

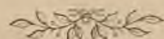
Odpowiedzi Redakcyi.

— **Ciekawa.** Mesmeryzm jest poniekąd ojcem spirytyzmu. — Szczegóły podane przez Panią o prawdomówności piszącego stolika mogą się opierać bądź to na figlach jednej z współdziałających osób, bądź też na bezwiednych odruchach myśli.

— **Przyjaciel z prowincyi.** P. Kotarbiński wystąpi na poznańskiej scenie, o ile nam wiadomo, w Urielu Acoście, Makbecie, Zakochanym lwie, Esseksie i Hamlecie. Repertuar jednak nie jest dotychczas definitywnie ułożony.

— **Opiekun.** My w nadesłanych próbkach tego „olbrzymiego“ talentu nie widzimy. Są to próbki tak dyletanckie, że o publikacyi ich, — „choćby dla zachęty“ — mowy być nie może.

— **Józef S.** Zamieścimy i prosimy nadal o nas pamięć.



Za redakcyą odpowiedzialny Dr. Wł. Rabski w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 46. Poznań, Niedziela 17-go listopada 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22. II p. **Administracya:** Piekary nr. 6. **Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Antysemityzm austryacki.

Nie zagłębiając się w zawiłą i denerwującą kwestyę, dla czego Lüger nie uzyskał zatwierdzenia cesarskiego, albo jaką byłaby jego pozycya na przyszłej wystawie Peszteńskiej, lub wreszcie, w jaki sposób ów nieprzejednany wróg Węgrów mógłby reprezentować Wiedeń w ich stołecznem mieście i odbierać od nich honory należne godności nadburmistrza, zamierzamy zająć się pytaniem, czem w rzeczy samej jest antysemityzm austryacki, jakie przyczyny uwarunkowały jego tryumf w Wiedniu i jakie ma on na przyszłość widoki.

Powiedzieliśmy dopiero co, że właściwym naszym tematem jest antysemityzm *austryacki*. Z rozmysłem zakreślamy sobie tak ciasne granice. Ale bo też antysemityzm w Austryi posiada całkiem odmienny charakter, niż we Francyi, a tembardziej w Niemczech.

I dziwić się temu nie można. W żadnem z tych państw właściwa judofobia nie jest organiczną potrzebą narodu. Jeśliby gdzie nienawiść do żydów, a przynajmniej systematyczna z nimi walka, mogła mieć głębsze, ekonomiczne i historyczne podstawy, — to jedynie u nas w Polsce i na Węgrzech. Są to bowiem jedyne kraje, gdzie żydzi stanowią odrębną zupełnie klasę gospodarczą i wywierają decydujący wpływ na tok politycznych zjawisk. Dzięki wyłącznie żydowskiej burżuazyi i na wpół żydowskiej inteligencyi zawodowej posiadają dziś Węgrzy swe liberalne rządy, co choć umieją strzedz wolności sumienia i pracy, to jednak, gdy im tego potrzeba, potrafią topić w rzekach nieprzychylnych im słowackich wyborców. A my zawdzięczamy żydom nasamprzód brak narodowego mieszczaństwa, któreby mogło służyć za naturalną opokę silnego społeczeństwa, w dalszych zaś konsekwencyach uprzywilejowaną oligarchią, która zabierała w swe ręce kierownictwo wszelkich naszych patryotycznych ruchów i doprowadzała je zawsze do najokropniejszego fiaska.

Mimo to jednak nie słychać nic o antysemityźmie na Węgrzech lub w Polsce. Tam bowiem umieli się żydzi jakoś dostósować do Węgrów — a my znów przywykliśmy już do widoku żyda i jego specyficznej kultury.

Natomiast coraz to głośniej rozlega się bojowy okrzyk „Hejże na Izraela“ w Niemczech, Austryi i Francyi, gdzie żydów jest stosunkowo nie wiele i gdzie wywierają oni nieznaczny jedynie wpływ na rozwój życia publicznego, gdzie rozproszeni wśród różnych klas i warstw narodu wsiąkają w nie całkowicie, żyjąc ich kulturą i wyznając ich ideały.

I co dziwniejsza, wszędzie obwiniają żydów o co innego. W Niemczech przypisują im wszystkie szwindle i krachy, któremi kwitnie nowoczesna gospodarka, a zarazem zanik moralnego pierwiastku w życiu społecznem. We Francyi oskarzają ich o zmateryalizowanie narodu, co przekłada dziś ekonomiczne swe interesa nad Chrystusowe przykazania i honor narodowy. A w Austryi kładą na ich karb ruinę drobnego przemysłu.

Antysemityzm też posiada w każdem z tych państw wręcz odrębną fizyognomią, W Niemczech jest on monarchiczno-klerykalno-reakcyjny i walczy z wielką burżuazyą, prawdziwe pot-pouri najprzeróżniejszych tendencyi, we Francyi lubuje się w szowinistycznych frazesach i społecznych reformach w patryarchalnym duchu, a w Austryi jest wprost drobnomieszczański.

Wspólną mu jest we wszystkich krajach jedynie nienawiść do liberalizmu i żydowszczyzny.

Zkąd jednak wzięło się to dziwaczne zestawienie dwóch tak dziwnych pojęć? Nie uprawnia nas doń ani historya, ani też logika.

A przecież musi ono mieć swą raayę bytu i to nie lada jaką, gdy wyrosło w tak różnorodnych warunkach i stało się tak powszechnem.

I w rzeczy samej, chociaż pragmatyczne badania panujących stosunków społecznych każą nam uznać owo zasadnicze twierdzenie wszelkiego antysemityzmu za zwykły przesąd i aberracyę słabych umysłów, to przecież psychologiczna analiza współczesnych narodów jak najzupełniej objaśnia nam jego genezę.

Nowoczesny *wielkomieszczański* liberalizm zbankrutował dziś na wszystkich punktach. Nie stworzył on powszechnego dobrobytu, jak to obiecywał, nie dał ludom głoszonej przezeń niegdyś wolności i równości, a nawet nie zapewnił nam harmonii sił gospodarczych, którą się przed laty tak bardzo szczycił.

Świadomość ta, że obietnice wielkomieszczańskiego liberalizmu spełzły na niczem, przenika z dniem każdym głębiej w dusze dzisiejszych społeczeństw. Nasamprzód stanął do walki z burżuazyą proletaryat miejski, organizując się w partyę socyalistyczną. Zgrupował się on pod sztandarem programu wręcz przeciwnego liberalizmowi, bo interesa jego są dyametralnie sprzeczne z interesami wielkiego mieszczaństwa.

Lecz inne warstwy ludowe nie zdołały tak szybko przejąć się zasadami walki klasowej. Zbyt wiele posiadają one z resztą narodu wspólnych celów, by mogły odrazu zerwać z ideą jedności narodowej. Uznając się za organiczną część społeczeństw, w skład których wchodzą, przekładają, przynajmniej w zasadzie, interesy całości nad swe własne dążenia. Konsekwentnie zaś nie umieją również posądzać innych o wyłączny egoizm klasowy.

Gdyby średnie warstwy ludowe były zdolne do abstrakcyjnego myślenia, w takim razie ideologizm ich nakazałby im w chwili niezadowolenia z dzisiejszych porządków winić samą zasadę wielkomieszczańskiego liberalizmu. Lecz masy nadają zwykle swym pojęciom nieco praktyczniejszy wyraz. Gdy im się źle dzieje, szukają one konkretniejszych winowajców, niż systemy i teorye społeczne. Tak też i w danym wypadku przeniosły swą nienawiść liberalizmu na żydów, jako najtypowszych jego reprezentantów.

Nie da się bowiem zaprzeczyć, że etyka liberalizmu, jakby umyślnie była stworzoną dla żydowskiej kultury. I nic w tem dziwnego. Wieki całe złożyły się na to, by w żydach wytworzyć wyłącznie kupiecką moralność, by wpoić w nich hołd dla materyalnej potęgi, nauczyć ich czcić powodzenie, pozbawić ich wszelkiego idealizmu. Dzisiejszy zaś liberalizm jest w rzeczy samej filozofią materyalnego bogactwa. Zrodziło go zwycięstwo pieniężnej siły nad powagą urodzenia i zasady transakcyi handlowych stały się jego etyką.

Choć więc właściwymi twórcami liberalizmu wielkomieszczańskiego są aryjczycy, — to przecież najlepiej się doń dostósowali żydzi. Ztąd to pochodzi okrzyczane zżydzenie naszej cywilizacyi. Handel, giełda, a w znacznym stopniu prasa i przemysł znajdują się dziś w żydowskiem ręku. Nie znaczy to jednak, by żydzi mieli zawładnąć sterem publicznego życia, kładąc swe piętno na najważniejszych jego przejawach. Bynajmniej, — potrafili się oni tylko lepiej od nas dostosować do wymagań dzisiejszej kultury, a raczej *a priori* już byli do nich dostosowani.

Mylą się więc antysemici, dowodząc, iż żydzi stworzyli liberalizm. Biorą oni przyczynę za skutek, a skutek za przyczynę. Wielkomieszczański liberalizm to bowiem oddał najważniejsze cywilizacyjne posterunki w żydowskie ręce.

Logiczny błąd antysemitów ma jednak — jak to już powiedzieliśmy — swą psychologiczną racyę bytu. Budzące się bowiem do samodzielnego publicznego życia, masy chłopstwa, drobnych mieszczan i najniższej kategoryi, robotników, — musiały nadać społecznej kwestyi ten właśnie, a nie inny obrót. Znienawidziwszy burżuistyczny liberalizm napadają oni na żydów, widząc w nich wcielenie zwalczanej przez siebie idei. I zależnie od specyalnych swych gospodarczych interesów, politycznych dążności i historycznych tradycyi winią one synów Izraela za to lub za owo. We Wiedniu kładą dziś na karb żydów ruinę drobnego przemysłu. Hołduje tam bowiem antysemityzmowi niemal całe drobne mieszczaństwo. Do niedawna jeszcze wiedeński rzemieślnik i drobny kupiec wyznawał gorliwie liberalne doktryny. Uważał on się za „bürgera“ stolicy, w zasadzie równego wielkiemu fabrykantowi. Złożyły się na to dwojakiego rodzaju przyczyny. Działała tu przedewszystkiem tradycya historyczna i wspomnienia z czasów, gdy Wiedeń sam jeden walczył w obronie europejskiego liberalizmu. A następnie przyczyniło się niemało i wyjątkowe położenie Wiednia, nie posiadającego ściślejszej styczności z resztą monarchii, którego wyłącznem niemal zadaniem jest rola cesarskiej rezydencyi. Ztąd to i separatyzm wiedeńczyków. Mieszkaniec habsurgskiego grodu nie jest Austryakiem ani też Niemcom. Jest on wprost Wiedeńczykiem.

I po za Wiedniem, we wszystkich krajach koronnych istnieją krawcy, szewcy, ślusarze, drobni majsterkowie i kupcy. Lecz kultura ich jest tak dalece różną od zwyczajów i upodobań wiedeńskiego „Spiessbürgera“, że mimowoli czuje on większą łączność z wiedeńskim finansistą, niż z czeskim lub polskim drobnomieszczaninem. — Póki więc tylko było to możliwem, solidaryzował się z wiedeńską burżuazyą i głosił liberalne hasła. Surowa jednak rzeczywistość zmąciła wreszcie i tę idyliczną harmonią. Wiedeńska „Gemüthlichkeit“ ustąpiła miejsca rozgoryczeniu drobnych producentów, coraz bardziej rujnowanych przez fabryki i wielki handel. Z wyznawców wielkomieszczańskiego liberalizmu stali się oni zażartymi jego wrogami, grupując się tłumnie pod sztandarem antysemityzmu. Wiedeński zaś separatyzm i brak wszelkiej łączności z okolicznem chłopstwem lub niezadowoloną dziś również szlachtą, nadały ich programowi wybitnie drobnomieszczański charakter, chroniąc go od wszelkich reakcyjnych i klerykalnych domieszek. Równocześnie zaś zapewniły mu one tryumf, którym się dziś szczyci. Streszczając bowiem w sobie wszystkie dążności miejskich warstw średnich, nie czyniąc dla nikogo żadnych programowych ustępstw, tem łatwiej mógł sobie antysemityzm wiedeński zjednać bez wyjątku klasę drobnego mieszczaństwa.

Oddaliśmy wszelką sprawiedliwość wiedeńskim antysemitom. Staraliśmy się wykazać ich racyę bytu i dowieść, iż program ich kryje poza bezmyślnym okrzykiem „precz z żydami“ i poważniejsze cele. Przyznaliżmy im również takt polityczny (chociaż natury przypadkowej) i znaczną potęgę, której dowód dopiero co złożyli.

Bądźmyż jednak do końca bezstronni i nie przeceniajmy znów znaczenia niedawnego ich tryumfu. Wybór Luegera na burmistrza bynajmniej nie oznacza, by antysemici całkowicie opanowali Wiedeń. Wątpliwem jest nawet bardzo, czy Lueger posiada tam za sobą prawdziwą większość. W Austryi bowiem wola ludu, a wola jego reprezentantów — to wręcz odmienne pojęcia. I gdy nareszcie przyjdzie od tak dawna zapowiadana reforma wyborcza, a za nią i demokratyczniejsza ordynacya wyborow miejskich, wtedy magistrat wiedeński ujrzy prawdopodobnie w swem łonie jeszcze inne żywioły, mniej hałaśliwe od antysemitów, lecz o wiele groźniejsze dla ministrów i strzeżonego dziś przez nich porządku.

Str.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Zwycięstwo posła naszego Radwańskiego w pszczyńsko-rybnickim okręgu wprawiło duchowieństwo górnoszląskie i jego organa w istny paroksyzm nienawiści. Odzywają się głosy kapłanów wzywające ks. biskupa Koppa i wszystkich konfratrów, by jednomyślnie wystąpili do walki z emancypacyą ludu polskiego. Bytomski „Katolik“ wobec napaści takich nieśmiało i miękko broni sprawy naszej, energiczniej za to, odezwała się „Gazeta Gnieźnieńska“. (Nr. 32.) W świeżo założonem piśmie czytamy:

„Niechaj księża katoliccy na Górnym Szląsku nie igrają niebacznie z ogniem, i niech nie rozpoczynają walki z sprawą, która powinna być dla nich tak samo świętą, jak dla ludu. We wszystkich krajach (?!) idą kapłani ręka w rękę z ludem, jeżeli tenże idzie po drogach Bożych i walczy za swe najświętsze prawa. Patrzcie kapłani Górnego Szląska na nieszczęśliwą Irlandyą! Tam duchowieństwo stawa mężnie w obronie sprawiedliwości i opiera się gwałtom Anglików, którzy biedny lud irlandzki ciemięża. W Irlandyi duchowieństwo, nawet wszyscy biskupi popierają narodowy ruch irlandzki, i tylko wtedy opierają się mu, jeżeli schodzi na bezdroża, jak to czyni stronnictwo Fenian, co mordem chce wywalczyć sprawiedliwość dla Irlandyi.

Jeżeli duchowieństwo górnoszląskie nie stanie w jednym szeregu z ludem, wtedy ten pójdzie swoją drogą. Co z tego wyniknie, niechaj to głęboko rozważą kapłani górnoszląscy.“

W tej samej sprawie tak piszą „Nowiny Raciborskie“:

„Protestujemy energicznie przeciwko wciąganiu osoby Jego Eminencyi ks. Kardynała w spory polityczne, jak tego pragnie „Schlesische Volkszeitung“, która wzywa duchowieństwo, aby poprosiło Arcypasterza, by wystąpił przeciwko gazetom polskim. Stwierdzamy to wyraźnie na tem miejscu, aby nam później nie przypisano winy za nieszczęsne skutki, jakie wysuwanie osoby Jego Eminencyi i zasłanianie się nim spowodować może.

Jeszcze raz: więcej rozwagi i upamiętania!“

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.

(Ciąg dalszy).

Przy szampanie toasty są nieodzowne. Przedewszystkiem wypito zdrowie świeżo przybyłego pułkownika“ (w r. 1863 miał zamiar iść do powstania, ale nie zdążył; został mu tylko tytuł i wspomnienie dobrych chęci). Pułkownik podziękował i w te przemówił słowa:

Panowie! Nie jestem mówcą, bo umiem tylko szablą przemawiać. Ale mimo to pozwólcie, że powiem, co mi leży na sercu. Nie będzie panowie dobrze na tym świecie, póki stańczyki za łeb nas wodzić będą. Dziś zwyciężyliśmy i do milion batalionów djabłów zwyciężymy i dalej. A kto nas prowadzi, panowie? co? Prasa, panowie, prasa! A więc piję zdrowie obecnego tu przedstawiciela prasy, pana redaktora i jak powiedział Homer, niech będzie semper venit, vidit vicit“.

Huczne brawa pokryły słowa mówcy. Powstał wzruszony redaktor, pogładził rudą brodę i cisnąwszy piorunujące wejrzenie na odchodzącego od drugiego stolika krawca, który zaprzedał się stańczykom, tak rzecz prowadził:

Nie zasługa moja, panowie, ale idea, którą przedstawiam, wywołała pochlebne słowa naszego dzielnego jenerała. (Pułkownik rzucił wzrokiem podziękowania za awans.) Tak jest, jenerała, panowie! Bo kto całe życie walczy za zwycięstwo wzniosłych idei, kto, że tak powiem, jest taranem rozbijającym mury reaków, ten, panowie, zdobył sobie moralne szlify jeneralskie (oklaski). Ten nasz jenerał, panowie, powiedział złote słowa — jakie? słyszeliście. A ja dodam więcej: jesteśmy częścią całości — całość to ludzkość — co czynimy dla siebie, czynimy dla ludzkości. Zwycięztwo zasad postępu, to nie zwycięztwo zaściankowe, panowie, to wielki akt samowiedzy ducha, to przyszły na ◦ credit lub debet. ◦gniećmy czarną falangę gasicieli ducha, a zasłużymy się sprawie wolności. Europa na nas patrzy“...

— I mała Azya — zawołał ktoś z drugiego pokoju. — lecz niezrażony redaktor ciągnął dalej:

„Z tego wszystkiego widzicie panowie, że nadszedł czas, aby olbrzym postępu zgniótł w swej dłoni karłów obskurantyzmu. Ale do tego trzeba solidarności wszystkich stanów. Byłem świadkiem, panowie, jak obecny tu pan Antoni, choć go pozycya i materyalne stosunki ciągną w objęcia łotrowskiej kliki, porzucił Targowicę i głos swój, głos wolnego obywatela, dał nam, panowie! Widziałem tę kartę, kartę naszą, kartę białą, kartę liberalną w jego dłoni i choć nie wiedziałem, co on za jeden, powiedziałem sobie: oto mąż! Takich nam, panowie, potrzeba. Niech żyje pan Antoni Gandziarowski i niech dalej walczy za prawdę, postęp i swobodę!

Pan Antoni uczuł się niezmiernie szczęśliwym i wdzięcznym mówcy. A ponieważ wdzięczność najlepiej udowodnić czynem, kazał podać dwie nowe Wdówki Cliquot.

Pan dyrektor w krótkiej lecz jędrnej mówce wzniósł zdrowie posła*** „nieobecnego tu ciałem, lecz obecnego duchem wszędzie, gdzie sprawa zwycięztwa partyi liberalnej jest rozpatrywaną“, w ręce jego przyjaciela, pana prezesa. Pan prezes, który w chwilach wolnych od zajęć (tj. od 9 rano do 2 w nocy) pozwala czasem natchnieniu wciskać się w szlachetne swe zwoje mózgowe, odpowiedź swoją na toast na cześć posła*** zakończył czterowierszem:

D[illegible]lej panowie, trzymajmy się ostro,
Bo nas stańczyki wezmą za łeb jutro.
Więc niechaj nasza sprawa nie zginie,
Niech jej nie zryją stańczykowskie ś....e!

Nie zastanawiając się nad bijącą w oczy prostotą stylu i formy powyższego czterowiersza, zanotować należy, że uczynił on wrażenie niemałe na słuchaczach, a zwłaszcza na panu Filipie. Rzuciwszy się w objęcia mówcy, prosił o przepisanie utworu, a biorąc z niego asumpt, wygłosił nie mówkę, lecz rodzaj traktaciku o tem, kto powinien być radcą miejskim, jakie ma posiadać kwalifikacye, aby stać się opoką, o którą rozbiją się zapędy stańczyków, i zakończył tem zdaniem, że największem nieszczęściem dla partyi jest to, że tacy ludzie jak pan Antoni, niezależni, inteligentni, pełni dobrej woli, prawdziwi obywatele-patrycyusze miasta, nie dadzą się skłonić do przyjęcia mandatu ra-

„Gazeta Opolska“ ogłasza charakterystyczny list jednego z czytelników swoich w sprawie solidarności Szląska z resztą ojczyzny. Z listu tego podajemy ustęp następujący:

„Wszyscy germanizatorzy huczą jak sowy w czasie wielkich mrozów na wielkopolską agitacyą i jest im solą w oku, że się my Górnoszlązacy poczuwamy po braterstwa z innemi ludami ziem polskich. A któż temu winien? Komuż mamy to do zawdzięczania? Wszystkim tym, którzy ukuli ustawy obowiezujące do tępienia wszystkiego, co polskie. Właśnie rząd pruski i ustawy antipolskie przezeń potwierdzone a rozciągnięte i na Górny Szlązk, kazały i niejako przymusiły nas uznawać Poznaniaków za naszych braci. Bo jeżeli my Szlązacy nie Polacy, to po co było rozciągać system niemczenia i różnych ustaw antipolskich z powodu polskiego narodu w Poznańskiem i na nas Górnoszlązaków? Jeżeli my nie bracia poznańskiego polskiego narodu, to też i nie Polacy a jeżeli nie Polacy, to po co nas rząd pruski porówno z poznańską polską ludnością traktuje? Toć ojciec, gdy jest sprawiedliwy i kocha równą miłością swoje dzieci, to też i majątkiem równo je dzieli. Więc gdy rząd pruski swą ojcowską miłością równo nas Górnoszlązaków z Poznaniakami obdziela, to tem samem potwierdza, żeśmy bracia jednej krwi i kość z kości.

Więc też śmiało i otwarcie wołam: Kochani bracia w Poznańskiem, Krakowskiem i Warszawskiem! Kochajmy się i szanujmy się, bo każdemu miło jest gdy widzi, że się dzieci jednej matki kochają, a smuci się, gdy się nienawidzą. Więc i rząd pruski, sprawiedliwy, cieszyć się będzie — jak sądzę — gdy się kochać będziemy, a smuciłby się i krwawiło by mu się bardzo jego ojcowskie serce, gdybyśmy się nie kochali i nie przyznawali do braterstwa.

Ja bym był nawet zatem, aby urządzić polską pielgrzymkę do ks. Bismarcka, jako do takiego, który dał początek naszemu odrodzeniu narodowemu, aby mu złożyć podziękowanie za łaskawą pamięć o nas Polakach pod panowaniem niemieckiem“.

Lwowskie czasopismo „Monitor“ wypowiada taką opinię w sprawie odrzucenia przez rząd austryacki wyboru p. Luegera na burmistrza Wiednia:

Dziś we Wiedniu wre i kipi! Postępek hr. Badeniego nawet przeciwników Dr. Luegera wprawił w zdumienie i wywołał na ich twarzach nieukontentowanie. Bo i do czegóż doprowadzić może krok taki?

Nastąpi wybór nowy i znów zostanie Lueger wybrany po raz trzeci, nastąpi rozwiązanie wybranej rady miejskiej, nowe wybory i nowy wybór Luegera po raz czwarty!

A czyż jeszcze i wówczas unieważniać się będzie wolę wyborców? Obosieczna to broń! Rozbudzi się bardziej jeszcze nienawiści rasowe i klasowe, które buchnąć mogą jasnym płomieniem, a koronie nie pozostawi się drogi do wyjścia.

Pojmujemy energią i silną wolę jednostki, ale ta jednostka winna się stosować do energii i woli współobywateli. Inaczej rzecz pojętą być nie może, gdyż chyba zaprowadzi do wcale niepożądanej katastrofy.

Poczyna się dziś wszystko wikłać i stawać na ostrzu miecza. Miecz wyciągać przeciw piętrzącym się trudnościom niebezpiecznie, gdyż mieczem całość się rozcina a nie wiąże!

My też powtarzamy jako memento:
„Święć się wola nie Twoja, ale ogółu.“

Poseł T. Romanowicz wypowiada w „Nowej Reformie“ następujące zdanie o galicyjskim ruchu ludowym.

„Nic łatwiejszego, jak wmówić w siebie, że ten ruch jest wypływem sztucznej agitacyi, robotą dwóch pism ludowych i ich redaktorów. Byłaby wtedy sprawa bardzo łatwa: agitatorów pozamykać — pisma skonfiskować, i rzecz skończona. I próbowano tych sposobów. Agitato ów, gdzie się to dało zrobić, trochę przymknięto, pisma często konfiskowano i ścigano je zakazami. nawet z ambony głoszonemi, a mimo to, tego szeregu objawów, które obejmujemy mianem „ruchu ludowego“, stłumić nie zdołano. A ztąd wniosek, że jednak w ruchu tym musi coś być takiego, co nie ze sztucznej agitacyi powstało, ale co ma swoją racyą bytu i czerpie ją z danych rzeczywistych stosunków społecznych.

Jeżeli jakaś warstwa społeczna, która stała na „szarym końcu“ życia politycznego, nagle zwartym szeregiem staje i powiada: „jestem“, i domaga się, żeby ten szary koniec, został odnośnie do niej skasowany, i żeby ją postawić w jednym szeregu z innymi, jako „równych z równymi“ — to na ruch taki dwie przyczyny złożyć się muszą: po pierwsze rozbudzona w tej warstwie społecznej świadomość, że ona w życiu publicznem jest, a raczej być powinna rownouprawnionym z innemi czynnikiem — a powtóre, jakieś w faktycznych stosunkach uzasadnione niezadowolenie. Bez owej świadomości nie byłoby wogóle możliwem pojawienie się takiej dotąd na szarym końcu trzymanej warstwy społecznej na widowni publicznego życia — bez niezadowolenia nie byłoby przedmiotu dla jej dążeń.

Że świadomośc polityczna u naszego ludu wiejskiego budzić się poczyna, dziwić to nie powinno. Ona musi powstać wszedzie, gdzie sięgnie promień oświaty. Przez ćwierć wieku powoli wprawdzie, ale statecznie czynić wysiłki ku oświacie ludu, starać się o pomnożenie i ulepszenie szkół ludowych, wydawać pisma ludowe i całe biblioteczki dla ludu, zakładać po wsiach czytelnie, a potem dziwić się, że w jakie ćwierć wieku od rozpoczęcia tej pracy lud zgłasza się do publicznego życia, jako czynnik z innemi równouprawniony — na to trzeba zaprawdę dziwnego zaślepienia“.

BADANIA NAUKOWE.

Kobieta a mężczyzna.

Bardzo dużo zadrukowano już papieru rozprawami na temat stojącej na porządku dziennym, kwestyi kobiecej; zdawałoby się więc, że kwestya ta zasadniczo przynajmniej została wyjaśnioną. Tymczasem okazuje się przeciwnie; zamiast rozjaśnienia, zaciemniono ją a zaciemniono przez to, że zabierają w niej głos ludzie, niezdolni po większej części do wydania bezstronnego, ściśle naukowego sądu, gdy chodzi o kobiety. Same zresztą niewiasty, z uniwersyteckiem nawet wykształceniem, wygłaszają w tej sprawie zdania wręcz sobie przeciwne.

Twierdzenia przeciwników emancypacyi kobiet dają się streścić w następujących zdaniach: kobieta jest płcią wyłącznie, żyje tylko fizyologicznie, brak w niej człowieczeństwa, brak zdolności umysłowych, brak poczucia moralnego i współczucia. Jest ona zwierzęciem przedewszystkiem, zwierzęciem dzikiem, drapieżnem, okrutnem, pożerającem mężczyzn. Mniej czuje i mniej cierpi od mężczyzny i mniej dla tego (?) spełnia od niego zbrodni i przestępstw[1]). Mężczyźnie jedynie świat zawdzięcza wszystko, co nadaje jakąś wartość życiu.

Dla obrońców emancypacyi kobieta wyżej stoi od mężczyzny pod względem moralnym, pod względem zaś intelektualnym dorównać mu może na każdem polu. Zależność tylko niewolnicza od mężczyzny niepozwoliła jej kształcić swego umysłu i brać udziału w życiu ogólno-społecznem. Ustrój rodowy, w którym kobieta dominujące zajmowała stanowisko, lepszym był od dzisiejszego, stworzonego przez mężczyznę. Pano-

[1]) Kobieta daleko więcej doznaje cierpień od mężczyzny, z powodu rozmaitych zaburzeń, związanych z jej życiem płciowem.

---

dzieckiego, a kiedy wszyscy obecni, głośnem potakiwaniem słowom mówcy, objawili łączność swych pod tym względem zapatrywań, pan Filip zwrócił się do pana Antoniego i w słowach pełnych zapału prosił go w imię osobistej przyjaźni i poczucia obywatelskiego, w imię wreszcie karności stronnictwa, aby się nie usuwał od obowiązków, jakie wola ogółu narzucić mu p agnie.

Pan Antoni opierał się. „Ja całe życie — mówił — byłem skromnym, nigdzie się nie pchałem; pracowałbym szczerze, to prawda, ale czy zdolności moje odpowiedziałyby dobrym chęciom, w to wątpię; zresztą są zasłużeńsi odemnie“. Przyciskany do muru przez pana Filipa i współtowarzyszy oświadczył w końcu: „Zresztą, jeżelibym został wybrany, przyjąłbym te obowiązki, ale proszę was, panowie, zostawcie mnie w spokoju. Ja jestem gwałtowny, — w walce ze stańczykami mógłbym się unieść, i....“

Oklaski, brawa, nie dały panu Antoniemu dokończyć zdania. Takich nam potrzeba! — wołał redaktor. — Pan radzca Antoni niech żyje! — krzyknął jenerał, — a reszta z prezesem i mecenasem na czele, powstawszy, zaintonowała: „niech żyje nam!“

Pan Antoni ściskał i całował wszystkich, a najwięcej Filipa, którego geniusz coraz więcej mu imponował. Czuł, że jest nieco cięty, z chęcią byłby zakończył biesiadę i ruszył ku domowi, ale mentor szepnął: „jeszcze trzy szampany, koniaków i likieru“, które to polecenie pan Antoni głośno powtórzył komu należy.

Ożywienie wzrastało; nie sposób ująć w słowa ogólnego nastroju i zapału, jaki panował tej pamiętnej nocy „pod Fujarą“. Mówki sypały się jak z rękawa, bo jeszcze paru maruderów wracających z „pod Figi“ i z „pod Salcesona“ wstąpiło „pod Fujarę“ i przyłączyło się do grona biesiadników. Ktoś wzniósł zdrowie jednej ze zmarłych niedawno znakomitości, ktoś inny zaproponował wysłać telegram do księcia Aleksandra bułgarskiego, inny pił na cześć dziewic z życzeniem, aby były „matkami postępowemi“, inny na pohybel stańczykom i wszystkim zdrajcom ojczyzny itd. itd. Nie potrzeba dodawać, że anegdotki i nieznane utwory Węgierskiego i Fredry, fraszki Potockiego, opowiadania o Feli i o jej mężu, przeplatały toasty, tworząc razem równiankę złożoną z kwiatów myśli, poezyi, rozumu i dowcipu.

Kiedy dna butelek już ukazywać się zaczęły, powstał pan Antoni, chrząknął i z trudem, bo z trudem, ale wygłosił mówkę, która jakkolwiek nie dostanie się do „wzorów wymowy“, warta jest jednak zanotowania ze względu na stanowisko oratora. Oto jej treść dosłowna:

„Szanowni panowie! Zaszczytem to jest dla mnie, że... panie tego... panowie mieliście zaszczyt... to jest właściwie ja miałem zaszczyt zawrzeć miłą znajomość z panami dobrodziejami. U mnie, panie tego, serce jak na dłoni, czem chata bogata, tem rada, a komu się to nie podoba, panowie, ten tego, to niech go, panowie, jasny piorun, panowie, szlag niech go trafi, panowie“.

Tu na chwilę mówca przystanął. Pot mu płynął obficie z czoła, nogi odmawiały posłuszeństwa, w głowie coś strasznie mąciło, ale otrząsł się, uderzył pięścią w stół i głosem podniesionym mówił dalej:

„Tak, panowie! My tu będziem rządzić, panowie, a nie jakieś stańczyki, panie tego. My nie potrzebujemy hrabiów, panowie, ja nie potrzebuję hrabiów i pan jenerał nie potrzebuje hrabiów, i pan redaktor nie potrzebuje hrabiów, panowie, i pan dyrektor nie potrzebuje hrabiów,... tak, panowie, nikt nie potrzebuje. Jak ja będę radcą, panowie, to hrabiowie za drzwi, my tu sobie radę damy. A jak pan hrabia zaprosi na herbatę, to ja, panowie, zaproszę na kolacyą, uczciwą kolacyą, panowie, i...

— Zdrowie pana Antoniego, naszego kochanego radcy — zawołał gromko pan Filip, chcąc tem gwałtownem przerwaniem uratować oratorski występ pana Antoniego od wyraźnego fiaska.

— Wiwat! — krzyknęli współbiesiadnicy. — Redaktor, jenerał i dyrektor pochwycili pana Antoniego na barki a reszta zawyła „Mnohaja lita“.

Handel „pod Fujarą“ otwarty jest tylko do 4 rano. Ten barbarzyński zwyczaj zmusił towarzystwo do opuszczenia wcześniej niż należało tak przyjemnego lokalu. Pan Antoni już nieco wytrzeźwiał; przyczynił się do tego najprzód dzban wody, wylany na głowę, a następnie przedstawiony do zapłacenia rachunek. Nie potrzeba dodawać, że pan Antoni zapłacił za wszystko, a nawet więcej, bo nietylko „fundowane“ przez pana „prezesa“ albertynki i bakalie, redaktorski koniak, moskalc „dyrektora“ i ser „mece-

wanie kobiety było panowaniem równości, braterstwa i dobrobytu powszechnego, gdy panowanie mężczyzny jest panowaniem przemocy, niesprawiedliwości i nędzy powszechnej. Gdy kobieta odzyska dawne swe prawa, wtedy zapanuje znowu na świecie szczęście powszechne.

Stojąc na stanowisku wyłącznie naukowem, niemożemy przyznać słuszności żadnej z tych biegunowo sobie przeciwnych opinii. Kobieta zdaniem naszem — nie jest ani szatanem, ani aniołem, lecz jest człowiekiem, ani gorszym, ani lepszym pod względem wartości społecznej od mężczyzny. Różniąc się cieleśnie od mężczyzny, różni się ona niewątpliwie i duchowo; rola jej jednak życiowa równoległą jest do jego roli i do równoległości społecznego jej stanowiska ze stanowiskiem mężczyzny prowadzi.

Jak wszędzie, tak i tutaj, walka jest niezbędną, z jednej strony walka ekonomiczna o życie, z drugiej — walka płciowa, walka miłosna o przekazanie życia. Obie płcie w walkach tych brać muszą udział gdyż obie chcą żyć w sobie i w swem potomstwie; zachowywanie się ich jednak w tych walkach różnem jest o tyle, o ile różną jest ich rola w zachowaniu gatunku, tego zasadniczego celu życia jednostki, do którego całe życie społeczne zmierza. Ponieważ płciowość w realizacyi tego celu najistotniejszą odgrywa rolę, od niej zatem sposób życia jednostki zależy przedewszystkiem. Każda z płci przystosowywać się musi całą swą istotą do zasadniczej swej roli, ażeby jaknajlepiej odpowiedzieć zadaniu swemu życiowemu, ażeby osiągnąć maximum szczęścia; ztąd też ogólna działalność życiowa każdej z nich właściwy sobie charakter posiadać musi, musi się od ogólnej działalności płci odmiennej czemś wyróżniać. Niemamy tu, oczywiście, na myśli działalności fachowej, tłumiącej indywidualność w człowieku i czyniącej z niego maszynę, podobną do innych maszyn. W mechanicznej tej działalności kobieta i mężczyzna mogą się nie wyróżniać wcale, do jednakowej mogą dojść wprawy w wspólnym zawodzie, jednako mogą być użyteczni. Różnią się oni wtedy tylko, gdy indywidualna ich samorzutność w grę wchodzi. Nie należy tu brać, naturalnie, pod uwagę jednostek nienormalnych, hermafrodytycznych, androginicznych.

Jakież to są owe psychiczne właściwości płciowe, wyróżniające mężczyznę od kobiety?

Wszystko w życiu, jak wiadomo, jest walką; walka stanowi treść życia. Wszystko, co nas porusza, przyciąga, interesuje, czy to w świecie nauki, czy sztuki, czy też w samem życiu nas otaczającem, występuje zawsze w formie walki. Walką jest wszelki wynalazek, wszelka zdobycz naukowa, wszelkie dzieło sztuki, wszelka gra, wszelki sport, wszelka dyskusya, wszelkie dążenie. Walką jest również sama miłość, nawet najwznioślejsza. Napadającym jest tu mężczyzna, kobieta — broniącą się; on pragnie zdobywać, ona pragnie, aby jej uległość poprzedziła walka, ona chce być *zdobywaną*. Taki podział roli w walce miłosnej odpowiada zupełnie podziałowi funkcyj fizyologicznych w dziele utrwalania gatunku. Już tutaj przejawia się odmienny charakter obu płci, co dowodzi, że odmienność ta nie jest wytworem przypadkowym, ale koniecznością ewolucyjną samego życia, której żadne usiłowania emancypacyjne ze strony kobiet zatrzeć niezdołają. Dusza kobiety nigdy nieupodobni się do duszy mężczyzny. Jak ciała ich różnią się pomiędzy sobą, tak i ich dusze różnić się pomiędzy sobą zawsze będą.

Gdy mężczyzna rozgląda się dokoła, szuka, goni walczy, usiłuje dotrzeć do celu swych pragnień, pozanim istniejącego, kobieta w siebie jest zapatrzoną, do siebie wszystko chce przyciągnąć, w sobie widzi cel swego życia — utrwalenie gatunku, macierzyństwo. Już od dziewczęcia małego bawi się instynktowo w matkę ze swą lalką. Ażeby osiągnąć ten cel, musi pragnąć zwracania na siebie uwagi mężczyzn, musi się starać przyciągać ich, podobać im się, starać się o to, ażeby być przez nich pożądaną; musi zatem dbać o ujawnianie i uwydatnianianie tych stron swej osoby, które są poszukiwane przez mężczyzn. Całe jej życie psychiczne około tego się obraca. Nie jest ona przez to mniej wrażliwą, mniej czułą, mniej dobrą, mniej moralną, niżej, jednem słowem, ewolucyjnie stojącą od mężczyzny, ale taką samą, jak i on; tylko, ażeby módz to dostrzedz, należy ją obserwować na właściwym jej gruncie, z punktu widzenia życiowych jej przeznaczeń. Niemoże być ona wrażliwą, ani czułą na to, co jej nie uderza lub co nie znajduje w niej odpowiedniego organu percepcyjnego: niemoże iść za popędem instynktów altruistycznych tam, gdzie instynkty egoistyczne przez zasadniczy cel jej życia budzone być muszą.

„Dites à une femme, que vous voulez vous tuer pour elle, elle vous suppliera de n'en rien faire; faites-le, elle s'en vantera partout" — powiedział jaknajsłuszniej Balzac. Kobieta niechce, byś się zabijał, gdyż niechce zmniejszać koła swych wielbicieli. Lecz, gdyś się już zabił, to, naturalnie, chełpić się będzie wszędzie, żeś się zabił dla niej, dla jej osoby, fakt ten bowiem odpowiada najzupełniej zasadniczym dążnościom jej życiowym. Czyż to dowodzi nieczułości w kobiecie? A mężczyzna, porzucający swą żonę lub kochankę z dziećmi i skazujący je przez to na nędzę, czyż odznacza się nadmiarem czułości? Tylko kobiety, pozbawione instynktu macierzyńskiego są złe i okrutne, ale wówczas nie są już one prawdziwemi kobietami.

Że kobieta dochodzi wcześniej do dojrzałosci nie mężczyzna, to także jeszcze niedowodzi, ażeby miała stać od niego niżej ewolucyjnie. Mężczyzna dlatego dłużej rozwija się od kobiety, iż do dłuższego życia płciowego, niż ona, jest przeznaczony. Ponieważ natura wszystkie kobiety przeznaczyła do życia płciowego, przedłużyć zatem musiała mężczyznom, z przyczyn całkiem zrozumiałych, funkcyonalność ich płciową; niemogła bowiem powiększać ich ilości, z tej prostej racyi, że zaostrzona pomiędzy nimi walka, zredukowałaby ich znowu ilościowo do cyfry, odpowiadającej ilości kobiet. Jeżeli policzymy w przecięciu lata płciowe mężczyzny (40 do 50 a zdarza się i więcej)

---

nasa" weszły na rachunek, ale obciążył go jeszcze befsztek z jajem, który w południowej porze dnia tego pokrzepił drogie dla narodu, rycerskie członki „jenerała".

Dalsze dzieje dnia tego niech pokryje zasłona. Tyle tylko nadmienić wypada, że pan Antoni po wyjściu z szynku, przepraszam, z handlu „pod Fujarą" w towarzystwie pana Filipa, redaktora i jenerała, badał przez parę godzin bruki i stan oświetlenia przedmieść w kierunku ulic Karmelickiej, Łobzowskiej i Długiej, w skutek czego dopiero o godz. 6 rano powrócił do domu po 10-godzinnej pracy dla dobra miasta, kraju i społeczeństwa.

IV.

Nazajutrz, a raczej tego samego dnia około godz. 1 z południa, obudził się pan Antoni z mocnym bólem głowy. Pani Antoniowa całe pięć godzin przesiedziała przy łożu chorego.... na krzesło radzieckie — owijała mu czoło mokremi ręcznikami, zatrwożona, blada, bo Antoś ani słowa nie przemówił i leżał jak zabity. Pisarzom dzisiejszego realistycznego kierunku polecam opisanie tej nocy, skutki bowiem pijatyki dostarczyć mogą wspaniałych epizodów, „dokumentów", tchnących „życiem i prawdą". Ponieważ jednak tchną one i czemś innem, powróćmy przeto do obudzonego kandydata.

Ciężko mu było na sercu i w głowie, choć lżej w kieszeni. Od lat dwudziestu trzymał się zdala Bachusa i miał o nim tylko lekkie wspomnienia. Ale i te wystarczyły do energicznego zażądania barszczu. Przemienił się w pompę ssącą przyjemny kwasek i dumał. Jak zostanie radnym, wejdzie w tajną spółkę z budowniczym Golickim, bardzo porządnym człowiekiem, ale stwierdzającym golizną pochodzenie swego nazwiska: wyjedna mu swemi stosunkami prowadzenie jednej i drugiej budowli miejskiej, wezmą którą z nich w przedsiębiorstwo, później wezmą drugą, trzecią i czwartą. Golicki będzie pracował, a pan Antoni powiększał swą gotóweczkę dla dobra współobywateli. Dalej ten grunt nad Rudawą wartoby sprzedać miastu dla uregulowania ulicy; przecież miasto może dać za sążeń do 25 złr., kiedy żydzi już po 12 i ćwierć dawali. Zresztą zamknie się magistratowcom możność ciągłego wtrącania się do obu domów przy Szewskiej i Floryańskiej, a to ganki wydają się im pogniłe, a to front podrapany, a to wychodki za blizko studni, a to mieszkanie stróża niehygieniczne, a to ścianka widermachu popękana i grozi zawaleniem, — słowem szykany od rana do nocy. Czy to ich kamienica, czy co? czy oni tę wodę piją, czy oni w piwnicy mieszkają i gankami chodzą! Tfu! — jeszcze ich front podrapany w oczy drapie — a niech drapie, niech nie patrzą, niech zamkną oczy jak przechodzą. Porządny obywatel ma dom, aby brać czynsze, a nie dla przyjemności cudzych oczu. Ho, ho! skończy się raz to wszystko! „Magistrackie pany" będą skakali i słuchali na łapkach, co pan radca rozkaże. Przytem się wyrobi jeden i drugi konsensik na szyneczek, to i przybędzie pewny roczny dochodzik, niewielki o! niewielki, ale porządny obywatel niczem nie gardzi. A jak Janek zda maturę i skończy medycynę, to go się tam jakoś na fizyka wykieruje i...

W tej chwili odezwał się dzwonek, a służąca zapowiedziała wizytę jakiegoś pana. Pan Antoni zrzucił szlafrok, przewdział tużurek, i podążył naprzeciw gościa. Był nim pan redaktor. „Obowiązek moralny" kazał mu odwiedzić zacnego obywatela i zapytać o szlachetne zdrowie po wczorajszej małej bibce. Posadzony na kanapie, poczęstowany sprowadzonym naprędce z trafiki dobrem cygarem, jął przedstawiciel dziennikarstwa wykładać gospodarzowi jak stronnictwa stoją tylko zgodą i jednością i jak wzajemna pomoc jest obowiązkiem ludzi jednych zasad. Po tym wstępie przyznał się, że dziś rano już „kropnął" korespondencyjkę do „Trąby Tarnopolskiej", w której poparł kandydaturę pana Antoniego, a gdy ten jakoś niczego się nie domyślał, więc mu wprost przedstawił swoje „wyjątkowe położenie". Okoliczności tak się ułożyły, że adwokat nie odesłał mu dotąd procentu od kapitału lokowanego na dobrach w Oszmiańskiem, a redakcye „Waryata Kołomyjskiego" i „Trąby Tarnopolskiej" spóźniły się z wypłatą honoraryum, — ztąd zniewolony jest uciec się do obywatelskiej pomocy pana Antoniego, prosząc o „chwilową" pożyczkę w kwocie 50 złr.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



i lata płciowe kobiety (30), to się okaże, iż mezkość przeważa znacznie nad kobiecością. Pierwiastek zresztą męzki, jako poszukujący, goniący, napadający, daleko więcej narażony bywa na nieodpowiedzenie swemu przeznaczeniu, niż pierwiastek żeński, mniej lub więcej dość biernie się zachowujący. To nam tłomaczy, dla czego mężczyzna żywotniejszy jest pod względem płciowym od kobiety.

Walka płci w społeczeństwie ciągnie się jednem pasmem przez cały ciąg dziejów. Gdy kobieta zajmowała stanowisko uprzywilejowane w społeczeństwach rodowych, traktowała mężczyzn, jak pszczoły trutni. Na uroczystościach Mylity w Babilonii obierano królem świata młodego niewolnika i najpiękniejsza z kobiet wówczas mu się oddawała; niewolnika tego rzucano następnie na stos i palono. Tak wyglądało braterstwo w idealnych tych czasach, kiedy panowały kobiety! To też, gdy mężczyzna odniósł przewagę nad kobietą w życiu społecznem, odwzajemnił się jej za krzywdy, dawniej mu wyrządzane. Ustrój patryarchalny rodziny, jaki nastąpił po ustroju matryarchalnym, był wynikiem zresztą samego rozwoju społecznego. Mężczyzna wziął górę nad kobietą dlatego, że rozszerzył się zakres wytwórczości społecznej, której matryarchalny ustrój rodowy w granicach swych utrzymać już niemógł. Mężczyzna lepiej jest uzdolniony do objęcia roli kierowniczej w nowym ustroju i dlatego ją objął.

Społeczna przewaga mężczyzny, jaką zdobył przed trzema tysiącami lat nad kobietą, zachwiana w wiekach średnich, upadła jednak i jurydyczny już prawie tylko posiada charakter. Kobiety dzisiejsze wielki wywierają wpływ na życie społeczne: nie są one już dziś niewolnicami, nieszczęsnemi ofiarami okrucieństwa mężczyzn, ale korzystają nawet z pewnych przywilejów w życiu towarzyskiem. Kobieta nie jest dziś już więźniem, zamykanym w gineceach i służącym jedynie za narzędzie rozkoszy dla swego pana, i za maszynę, rodzącą mu potomstwo. Kobieta jest dziś jednostką społeczną sama przez się i bezpośrednio bierze udział w życiu społecznem.

Z chwilą, gdy ustrój ekonomiczny wyrwał kobietę z życia rodzinnego i, wciągnąwszy ją w szeregi walczących o byt, obniżył zarobek mężczyzny i utrudnił przez to zawiązywanie nowych rodzin, poczyna się stanowczy upadek rodziny patryarchalnej. Zmuszona do ekonomicznej walki o byt, nieprzystosowana jednak do niej dziedzicznie, słabsza nerwowo od mężczyzny i mniejszym rozporządzająca zapasem energii i przedsiębiorczości, kobieta pada często w tej walce i ulega często wykolejeniu. Niemogąc wywalczyć środków do życia na drodze uczciwej pracy, szuka ich coraz częściej na drodze prostytucyi, każąc mężczyźnie płacić za miłość, jaką w innych warunkach darmoby go obdarzała. Prostytucya, wzrastająca równolegle z samobójstwem i rozwodami, w stosunku zaś odwrotnym do cyfr zawierania małżeństw, jest więc złem koniecznem, nieodłącznem od dzisiejszego ustroju ekonomicznego, złem, którego żadne wojny krzyżowe, przeciw niemu skierowane, nieosłabią, jest protestem tych, którym niewolno cieszyć się szczęściem rodzinnem.

Aczkolwiek taki sposób walki o byt przeobrażająco wpływa na rodzinę i nową jej formę, lepiej odpowiadającą warunkom życia społecznego, przygotowuje, to jednak dużo szkody przynosi samym kobietom wogóle. Kobiety oddające się prostytucyi, utrudniają kobietom, niepraktykującym tego handlu, zamążpójście, i tym sposobem pozbawiają wiele z nich możności zaspokojenia ich potrzeb płciowych, oraz potrzeb macierzyństwa — tego zasadniczego celu życia kobiety. Gdy cel ten nie znajduje urzeczywistnienia w czasie właściwym lub też gdy nie znajduje urzeczywistnienia wcale, co zdarza się coraz częściej (kobiety niezamężne i niepiękne) — kobiet zresztą więcej jest o 3 do 4% niż mężczyzn — kobieta staje się wówczas ofiarą rozmaitych zaburzeń organicznych i psychicznych, ujawniających się subjektywnie w niezadowoleniu z siebie i ze świata, w tęsknotach nieokreślonych, w ogólnem rozczarowaniu, w nienawiści ku wszystkiemu, i t. d.

Charakter płciowy mężczyzny i kobiety przejawia się również w charakterze ich umysłu. Gdy umysł mężczyzny jest napadający, umysł kobiety — odbiorczy. Mężczyzna rzuca się na świat, napada nań, usiłuje nad nim zapanować; kobieta wogóle nie czyni tego, bo sprzeczne to jest z jej naturą. Swiat interesuje ją o tyle tylko, o ile się wiąże z jej rolą życiową, o ile sam się jej narzuca. Dla tego też kobiety nie podbijają natury, nie czynią wynalazków, nie popychają naprzód nauki i nigdy, jak sadzę, do tego nie będą zdolne. Umysł ich nie może się rozwijać w tym kierunku, gdyż to jest sprzeczne z ich naturą, z kierunkiem ich rozwoju. Mogą one być jednak dobremi wykonawczyniami, pracowniczkami na różnych polach działalności umysłowej w kierunku im wskazanym. Mogą być lekarzami, prawnikami, chemikami, przyrodnikami, i t. d., ale żadnych wynalazków, żadnych nowych metod badania, żadnych nowych uogólnień niezdolne będą dać nauce.

dr. *Antoni Złotnicki.*



Sylwetki poetów czeskich.

IV.

Moderna i dekadentyzm. — Brzezina.

Młode pokolenie poetów czeskich, odświeżone ideami zachodniemi, podległo wpływom nowoczesnym i zerwawszy z kierunkiem romantycznym, mającym w Czechach w dobie ostatniej kilku wcale pokaźnych przedstawicieli, jak np. Vrchlicky'ego, Czecha, Juliusza Zeyera, więcej realnie zaczęło przed-

---

AXEL STEENBUCH.

MIŁOŚĆ.

Przekład
Zygmunta Bytkowskiego.

Akt III.

(We willi. Szczęśliwy i nieszczęśliwy wchodzą i zatrzymują się w przedsionku.)

NIESZCZĘŚLIWY. Jak mi się zdaje, drzwi aksamitem są obramowane.

SZCZĘŚLIWY. By słychać nie było, gdy kto nieostrożnie niemi zatrzaśnie.

NIESZCZĘŚLIWY. Ogród tu cały.

SZCZĘŚLIWY. Wiesz przecie.

NIESZCZĘŚLIWY. Tak, zawsze kwiaty lubiła.

SZCZĘŚLIWY. Chodźmy na górę. (*Idą*)

NIESZCZĘŚLIWY. Chodniki aksamitne na wschodach.

SZCZĘŚLIWY. Tak, by odgłos kroków nie dochodził.

NIESZCZĘŚLIWY. Stare malowidła na szybach.

SZCZĘŚLIWY. Malowane szyby tłumią światło. Słońce zbyt mogłoby razić.

NIESZCZĘŚLIWY. Ach! te opony z jedwabiu, tak pięknych nie widziałem.

SZCZĘŚLIWY. Wiesz przecie.

NIESZCZĘŚLIWY. Tak, zawsze za pięknemi barwami przepadała. Ach, ta gra świateł i barw na jedwabiu! Czemu mię za ramię chwytasz?

SZCZĘŚLIWY. Nie słyszysz nic?

NIESZCZĘŚLIWY. Co?

SZCZĘŚLIWY. Straszny ten jęk.

NIESZCZĘŚLIWY. Znam go, od czasu, gdym go poraz pierwszy usłyszał, wiecznie, wiecznie jest przy niej. Mnie się wówczas zdało, jakoby mi zimnym ostrzem w serce się wcinał. Potem łagodniał, z dniem każdym łagodniał; i zdał mi się trwożnem a wzruszającem kwileniem małego dziecięcia; a w nocy był jakoby brzęk drobnych, srebrnych dzwoneczków. (*Pokazując*) Tu drzwi.

SZCZĘŚLIWY. Zgadujesz.

NIESZCZĘŚLIWY. Czułem, iż zadrżałeś. Czy znajdziesz odwagę otworzyć je?

SZCZĘŚLIWY. Nie mogę.

NIESZCZĘŚLIWY. Tedy ja to uczynię.

SZCZĘŚLIWY. Nie, sam otworzę (*otwiera drzwi.*)

(Pułap komnaty jasnym wyłożony jedwabiem ściany przedniemi i cienkiemi tkaninami o mieniących się barwach; dywan utkany w róże. W środku komnaty proste łóżko.)

NIESZCZĘŚLIWY. Puść mię! Nie obawiaj się niczego! Toż na nią popatrz! Chore, bezmocne dzieciątko, co nie mogłoby ani „tak“ na prośbę moją odpowiedzieć, ani „nie“, gdybym mu coś złego zamierzał uczynić. Świętokradztwem byłoby włosów jej ręką się dotknąć, by je z czoła odgarnąć. — Czy to twoje miejsce tam przy łożu? Musisz mi go na chwilę użyczyć. Usiędę i uczyć się będę z płonącem licem śnić a marzyć.

SZCZĘŚLIWY. Nie, szeptać w ucho ci nie wolno.

NIESZCZĘŚLIWY. Przywykłem mówić w kościele stłumionym głosem.

SZCZĘŚLIWY. Czy mogę usiąść przy tobie?

NIESZCZĘŚLIWY. Siądź, gdzie chcesz. Dla mnie i tak cię nie ma, — i dla niej także (*siada przy łożu*). Julio, pamiętasz jeszcze dnie owe letnie, gdy nad strumykiem, co wśród zieleni i róż bladych jasną swą strugę tocząc, po kamieniach dzwonił, ja i ty, dwoje śmiejących się dzieci, siedziało, w obraz swój we wód zwierciadle zapatrzonych, — gdy uszczknięte przez nas liście jako łódki po wartkiej fali, daleko, hen daleko gdzieś płynęły, gdzie ich już wzrok nasz nie dosięgał. A oczy nasze niknęły za niemi i myśleliśmy, jako się one gdzieś w inny świat poniosą, gdzie wielkie, świetne rosną kwiaty o upajającej woni. Łodzie wracają! Łodzie wracają!

SZCZĘŚLIWY. Co mówisz?

NIESZCZĘŚLIWY. Julio! Pomnisz ów wieczór pod lipami? Co zgiełk a wrzawa dzienna pochłonęły, to kwiecie ich do nowego powołało życia, na skrzydłach słodkiej swej woni w krainę marzeń nas unosząc, a w gałęziach chwiały się i kołysały ptaki. I drżąc niosły się ponad głowy nasze tęskne ich pienia. I był jeden pomiędzy

stawiać życie ludzkie. Poeci ci noszą miano moderny czeskiej. Spotykamy tu jednostki, o uczuciach, zakorzenionych jeszcze w romantycznej głębie, o rozumie, co wznosząc się ponad niemi, żyje już powietrzem obecnej chwili, jak np. u Machara, niejako przywódzcy moderny; dalej osobniki, bardziej niż Machar realistyczne, lecz mniej od niego utalentowane, i dla tego nie one, lecz on stoi na czele nowożytnych piewców czeskich; nakoniec do rzędu moderny trzeba zaliczyć poetów, pokrewnych dekadentom Francyi i Belgii, poetów wśród których jedno tylko nazwisko szczęśliwie wypłynęło na wierzch. Jest nim Otokar Brzezina.

Pomimo, że pieśniarze z większem lub mniejszem zabarwieniem realistycznem wyróżniają się, rzecz prosta, od spółtowarzyszy swych na polu poezyi dekadentów, — wszyscy oni tworzą jedną gromadę słowików, znaną w Czechach pod nazwą „Moderny". Jeżeli więc oddzielimy od „Moderny" grupę dekadentów, — pozostała reszta odpowie mniej więcej temu, co poezyą się zowie realistyczną, zawsze jednak z odcieniem romantycznym. Od dawnych romantyków, jak np. Vrchlicky'ego i Zeyera, odróżniają się oni przedewszystkiem materyałem, który zazwyczaj brany jest z życia, dalej mniejszą fantastycznością, a zarazem mniejszem bogactwem pięknych porównań, bez zaprzeczenia zaś większem panowaniem nad słowem, ztąd wiersze ich nie grzeszą zbytnią rozwlekłością, ani zbytnim patosem, co nadzwyczaj łatwo znaleźć u takich pierwszorzędnych poetów jak Vrchlicky, a nawet Zeyer. Z tem wszystkiem nie spotykamy u realistów tj. u „Moderny" — bo dekadentów stawiamy oddzielnie, jako całość odrębną — rzeczy większych; zazwyczaj płody ich wyobraźni w nader szczupłych są pomieszczane ramkach. Wyjątek dodatni stanowi poeta Machar. Ale Machar i pod względem poetyczności, spostrzegawczości, rozsądku i zawsze żywotnego ciepła o całe niebo przewyższa towarzyszy z pod jednej chorągwi, i dla tego obszerniejsze mu poświęciliśmy miejsce w poprzednich pogawędkach.

Z innych poetów nowszej doby wspomnimy Antoniego Sowę, wynajdującego w życiu codziennem wiele stron nowych, nietkniętych jeszcze piórem poetów, umiejącego badać duszę ludzką i opiewać ją nader pieszczotliwie językiem niepozbawionym giętkości; dalej Franciszka Swobodę — krajobrazistę i warstw ludowych pieśniarza.

Jeżeli czeska poezya realistyczna nie przewyższa naszej, a prawdopodobnie jej nawet ustępuje, wyłączając jednego Machara, który dzięki Magdalenie wzbił się może ponad piewców polskich dzisiejszej doby, — to nie możemy tego powiedzieć o dekadentyzmie i symboliźmie. Pod tym względem Czesi górują niepodzielnie, zarówno w dodatnim jak ujemnym kierunku.

Nasz symbolista Antoni Lange ma się tak do symbolistów czeskich, jak brylant fałszowany do prawdziwego. Gadativus i rozwlekacz, lubujący się w porównaniach niezbyt oryginalnych, jakim jest poeta Lange, — to żaden symbolista, a raczej symbolista-rzemieślnik. Czesi pozostawili nas w tyle. Może to i lepiej.

Czesi, starający się w jakikolwiekbądź sposób zostać narodem europejskim, biorą na siebie częstokroć szaty zachodnie, aby choć zewnętrznie być podobnymi do tego niby przecywilizowanego zachodu. Pragną być w ścisłych z nim stosunkach, dążą, by mieć to, co on posiada. Postarali się też o dekadentyzm, który chyba sposobem naturalnym nie bardzo szybko mógłby zapuścić kiełki w narodzie, nie mającym jeszcze dziś prawa liczyć się do rzędu przecywilizowanych. A jednak dekadenci posiadają oddzielne pismo „Moderni Revue", bynajmniej w treść nie obfite i płodami twórczości samodzielnej nie interesujące, a samą okładką swoją znamionujące dziwactwo i dzieciństwo wydawców. Napis czasopisma brzmi bowiem mniejwięcej w następujący sposób:

Moderni Re-
vue, pismo de-
kadenckie. Uli-
ca Bezklepkow-
ska. Nr. 15. Roku
1895.

Wydawnictwa dekadentów noszą na sobie także znamię ekscentrycznej, mówiąc grzecznie, oryginalności. Kiedy rzeczywista dekadentów siła, Otokar Brzezina, puścił w obieg swą książkę „Tajemne dalky" — umieścił na niej nagłówek taki:

oΠokar Brzezina
Ⅰajemne dalky.

Zabawka godna najwyżej uczniaków z pierwszej klasy.

Z liczby dekadentów czeskich możemy wymienić Jerzego Karaska, Arnoszta Procbaskę i Otokara Brzezinę. Z nich tylko ostatni się wybitnie odznaczył w gronie młodzieńczych talentów czeskich. Karasek upodobał sobie złą stronę poezyi Baudelaire'a, mianowicie jego perwersyę i cynizm, tak że w przeszłym miesiącu cenzura nie pozwoliła mu drukować jego utworów, między innemi sprosnej podobno „Sodomy". Prochaska znany jest w Czechach jako nader zdolny krytyk — jego zaś „Prostibulo Duse" nie dorzuci mu zaiste ani jednego oklasku do tych, jakie zdobył sobie umiejętną krytyką.

Za to Otokar Brzezina, choć obdarował Czechów jednym jeno zbiorkiem i kilkunastoma wierszami, rozrzuconemi po czasopismach, przedstawił się już dziś tak zajmująco i samodzielnie, że obok Machara godne i bynajmniej nie pośledniejsze może zająć miejsce.

Machar i Brzezina to dwaj nowszego stempla poeci, którymi Czesi mogą się pochlubić. Machar to książę wśród poetycznej rzeszy realistów, Brzezina wśród rozbujałej zgrai dekadentów. Machar, poeta społeczny, polityczny, czeski, — Brzezina pieśniarz myśli, tęsknoty, złudzeń i snów, piewca więcej ogólny, kosmopolityczny, choć jeno dla duchów wybranych, inteligentnych, — dla lukullusowych smakoszów artyzmu.

Brzezina nie dawno wstąpił w szranki poetów, lecz pomimo nieznacznej produkcyi można o nim mówić jako o czemś całem.

Ma on więcej z Maeterlincka, niż z Baudelaire'a, do którego często był porównywanym. Kobiet, jak sam powiada, ognisty pocałunek nie rozpalił krwi jego i szał

---

nimi, ten śpiewał najtęskniej. A potem uleciał jeden po drugim i zamilkł śpiew. Noc zeszła. Ptaki po gniazdach się pochowały, ptaki do snu się pokładły i trwożna leżała noc przed nami i czekała słońca. — Julio! Ptaki wracają! Ptaki wracają!

SZCZĘŚLIWY. Nie rozumie cię, — głos twój, jakoby z nieskończonej płynie dali.

NIESZCZĘŚLIWY. Julio, Julio mała! Pomnisz poranek ów, gdy powietrze i morze w iskrzącą i lśniącą jedność się zlewały. Czarne łódki, co na kotwicy stały, zdały się w powietrzu wisieć i w niebie się odbijać. Za każdem poruszeniem wioseł, za każdem posunięciem się naszej łodzi, zdało nam się, iżeśmy bliżsi linii kresowej, — miejsca jednak, w którem woda z powietrzem w jedno się zlewała, dosięgnąć nie mogliśmy. Ku krainie baśni płynęliśmy, ale brzegi jej umykały przed nami. Wszystkie fale nas odpychały, żadna nas ku nim nie niosła. Julio, droga, mała Julio! Fale wracają! Fale wracają!

SZCZĘŚLIWY *(wstaje)*. Patrz! Patrz! czy nie widzisz? — W licach krew! Od lat już, jak wosk były białe. Patrzże! Patrz.

NIESZCZĘŚLIWY *(wstaje)*. Tak. — oddałem ci ją.

SZCZĘŚLIWY. Budzi się! Odejdźże teraz.

NIESZCZĘŚLIWY. Bym krzyku jej nie słyszał rozpacznego, gdy otworzywszy oczy rozglądnie się i mnie nie znajdzie. Ty go jednak usłyszysz! Ty go usłyszysz!

SZCZĘŚLIWY. Spiesz się!

NIESZCZĘŚLIWY. Jak chcesz.

Akt IV.

(Wieczorem. Ciemna alkowa we willi.)

NIESZCZĘŚLIWY *(otwiera drzwi)*. Tu jesteś, nieprawda? Tam w ciemnym kącie?

SZCZĘŚLIWY. Szukałeś mnie po całym domu?

NIESZCZĘŚLIWY. Patrzałem w okna ze strony ogrodu. Tam, gdzie najciemniej było i najdalej od miejsca, gdzie umarła, tam cię szukałem.

SZCZĘŚLIWY. Myślisz może, żem się przed tobą ukrywał?

NIESZCZĘŚLIWY. Raczejby przed sobą samym, gdybyś mógł.

SZCZĘŚLIWY. Szukałem cię w kaplicy. Nie było cię tam?

NIESZCZĘŚLIWY. Pożegnałem się z nią u siebie w domu. Kazałem ogrodnikowi do mej komórki na poddaszu przynieść akacyi i liści dębowych i przystroiłem nimi nagie jej ściany. Stół mój zasłałem obrusem białym, jako całunem śmiertelnym i postawiłem na nim róże i goździki i butelkę burgunda. Dwie były szklanki i obie napełniłem. Przez całe te pięć lat usta me wina nie tknęły, — za ubogi byłem, by je sobie kupić. Słyszałem dzwonienie z wieży kapliczki i zgrzyt kół po wilgotnym zwirze na drodze przed memi oknami. Nie wyglądałem. Uniosłem szklankę ku słońcu, — w promieniach jego wino skrzącą łyskało czerwienią, — było jako krew serdeczna. Popatrzyłem ku jasnemu cichemu niebu nademną, — jaskółka szybowała po niem, skowronek się wzbijał, — szeptałem słowa podzięki i pożegnania.

SZCZĘŚLIWY. Dla mnie dzień ów był dniem odrętwienia i przerażenia. Światło dzienne mię oślepiało. Zapach róż w kaplicy odurzał mię... jakoby głuche uderzenia spadało bicie dzwonów na mą głowę. A ty? — ty mogłeś dzień ów święcić?... Cóż teraz poczniesz?

NIESZCZĘŚLIWY. Mamże ci powiedzieć, co ty poczniesz? Dzień jeden spędzisz w zupełnej ciemności, dnia następnego jednak już zasłon nie zapuścisz, dnia trzeciego wyjdziesz na słońce, a potem niedługo ty nie dzień jeden tylko święcić będziesz. I rozciągniesz na stole obrus, jako całun śmiertelny, biały, i postawisz na nim róże i goździki i butelkę burgunda i dwie szklanki, i do obu nalejesz wina i obie będą spełnione. I nie uniesiesz szklanki twej ku słońcu i nie będziesz wiedział, iż wino krwi ma barwę. Ale pijąc upajać się będziesz wonią lśniących włosów. – Szczęśliwy człowieku! Tobie świąt nie zbraknie. Tyś nie pasierbem przyrody, jako ja, któremu jedno święto w życiu tylko obchodzić wolno.

SZCZĘŚLIWY. Zawsześ w zagadkach się lubował.

NIESZCZĘŚLIWY. Wnoszę z jednego o drugiem. Płakałeś dzisiaj tyle, przyjdzie com przepowiedział.

SZCZĘŚLIWY. Ale ty?

NIESZCZĘŚLIWY. Będę na drodze siedział, tłukł kamienie. Na szerokim gościńcu, setkami śladów zaoranym — tam,

miłosny nie zapłonął mu nigdy w źrenicach. Ztąd brak w jego poezyi pierwiastku perwersyi, cynizmu, owych „szpików“ i „mleczów pacierzowych“, czem się pochlebnie wyróżnia nawet od Maeterlincka. Jest on niejako poetą pozapłciowym, któremu wiosna, jak sam śpiewa, była smętną pieśnią elegijną, i który więcej myślami niż czynem grzeszył. W wierszu „Martwa młodość“ mówi, że na wspomnienie zwiędłej wiosny, tych martwych pocałunków, których żar go nie palił, „wszystko zapłonęło w duszy jego i nad trupem młodości stanął w zamyśleniu, jak kochanek nad martwą dziewą uwiedzioną.“

A i pod względem formy nie jest naśladowcą Baudelaire'a, choć można tam czasem odnaleźć nieco podobieństwa, lecz to zarówno o wszystkich wypadłoby rzec dekadentach. Tak np. brak mu zupełnie przecudnej kantyleny (powtarzanie pierwsz go wiersza na końcu strofki), za pomocą której różnorodne możemy wywoływać wrażenia, a raczej dwoić niejako wrażenie, wyśpiewane w strofce całej.

Ale wpływ Maeterlincka jest u niego widocznym. Świat przedstawia się dlań jako symbol konkretny świata nieskończonego, metafizycznego. Poezya jego stoi na pograniczu między dwoma światami, odpowiadając chwili, kiedy świadomość zmysłowa Maeterlincka usypia niejako, by dać możność użycia świadomości transcedentalnej. Co dla osobników nienormalnych, chorowitych, lub zajętych więcej życiem duchowem, a przytępiających żądze cielesne, leży jeszcze czasem w świadomości zmysłowej, — to dla innych znajduje się po za tą sferą i nie jest już dla nich zrozumiałem. U Brzeziny świadomość niemal ciągle wyłuskuje się z skorupy cielesnej, by podążać po za ten świat, i chociaż na podobieństwo Maeterlincka, poeta nie może dotrzeć do tajników świata nieznanego, chętnie jednak przebywa w tych mrocznych, niepojętych dla nas krańcach. I opisuje je za pomocą obrazów zmysłowych, widocznych, zrozumiałych dla czytelnika, używając prawie zawsze porównań zapożyczonych z nauk ścisłych, lub z bogatej obrzędowości katolickiej. Tak np. w wierszu „Znameni duse“ mówi: „Twój uśmiech (duszy) jak światła pył iskrzący chwiał się w zmierzchu słów tajemniczym i w *przedłużonych cieniach* myśli“. Bądź używa zwrotów następujących: „Jest smutną dusza ma, a pełna woni tęsknej, — myśl ma *gromnicę*, która w nieczystem ciała lichtarzu trzęsąc się świeci, — umieszczona na *ołtarzu* wiecznym Nieznanego.“

Miriam mówi i słusznie, że koloryt Maeterlincka jest chorobliwy, bolesny, zielonawy. Toż samo rzec można o Brzezinie. Ma on nawet wspólne z Maeterlinckiem szczególne upodobanie do „zielonowości“, a już mimo poety belgijskiego, do „okna duszy“.

Brzezina — to mistyk, lecz również jak Maeterlinck może trochę niewyraźniej) hołduje mistycyzmowi naukowemu, a nie religijnemu. Poeta belgijski rzeczy niepojętych nie uznaje za cudowne, jeno za naturalne, leżące tylko jeszcze w sferze świadomości transcedentalnej i dla tego niezrozumiałe dotąd dla świadomości zmysłowej. Tak samo Brzezina. I co do grzechu nie jest on dlań pojęciem dogmatycznem, jeno ściśle naukowem. — Nie istnieje dlań kara za grzech Adamowy, — ale uznaje on grzech, winę dziedziczną i zależną. W „Legendzie winy“ głosi: „Wszak marnie kroczyłem, gdzie w rytmach zawrotnych życia się trząsł śpiew. *Cień Kogoś*, który za mną dążył, przedemną pływał, szedł z sali do sali — i gdzie wkroczył, tam blask pochodni gasł.“ „O duszo ma! (mówi dalej) zkąd On przyszedł? — Ach, ileż snać wieków! w duszach mych przodków się błąkał, nim doszedł aż do mnie?“

Jako symbolista Brzezina znacznie ustępuje Maeterlinckowi i nie odznacza się tem roiskiem symbolów, wśród którego u poety belgijskiego nader ciężko czynić obroty myślowe.

Najobficiej symbolistyka ta występuje w wierszu „Litość“, przypominającym Maeterlinckowskie „Spojrzenie“, bynajmniej jednak nie naśladującym ślepo wieszcza belgijskiego, — i w pieśni „Wonie ogrodów mej duszy“.

Kadzielnice, gromnice myśli, msze pontyfikalne, ołtarze wieczności, msze zaduszne, śpiewane przez myśli, — spotykamy prawie zawsze, gdy poeta o subjektywnych mówi nam uczuciach, zbliżając się w owych razach więcej ku Baudelairowi, zamiłowanemu w tego rodzaju przenośniach.

Poza tem Brzezina posiada dykcyą nadzwyczaj złożoną, bogatą, nieraz tak zawiłą, że trudno uchwycić myśl w niej się kryjącą. Ton jego muzy jest głęboko przejmujący, jakby świąteczny. Umie narzucać barwy, jakie chce, by wywołać odpowiednie wrażenie. Nastraja też w tym celu cały tok opowiadania. Rytm wewnętrzny jego pieśni zupełnie licuje z treścią i ze spadkiem myśli.

Pienia jego pełne są mistrzowskich poniekąd obrazów i prawdziwszych jak Vrchlicky'ego.

Szczególną pieczołowitością otacza też rymy, używając po większej części rymów żeńskich, stanowczo muzykalniejszych, dźwięczniejszych niż męskie, nadających dziwną miękkość wierszowi i przeciągających go niejako w dal, w nieskończoność.

Przy całem wysubtelizowaniu językowem tok myśli bywa nadzwyczaj u Brzeziny poważny, co nadaje wierszowi jego siłę i pewność. Jest on „dyamentowo twardy“, jak mówi jeden z najlepszych czeskich krytyków Krejči.

Książę dekadentów czeskich ciałem w pewnym stopniu pogardza, nie dba o niego. Jest on niejako ascetą średniowiecznym, wyrafinowaną duchowością. Jest spirytualistą z odcieniem pesymistycznym. Struny jego lutni dźwięczą ciągle nutami tęsknoty boleści, nieszczęścia, zniszczonej młodości, zawiędłych uczuć, zamarłych pragnień.

Wszędzie prawie mówi o sobie, o swych myślach, o duszy, wychodzącej z niego, o dreszczach śmierci i wszędzie niemal pełne boleści słowa wyślizgują się z głębi jego jestestwa. Pomimo to ma on współczucie dla całej ludzkości, jakąś litość dla niej, — i ów Maeterlinckowski „ból wszechstworze-

---

gdzie wśród krzaków biały rozchodnik, niebieska cykorya wyrasta i w południowym słońcu się praży, — tam na krawędzi rowu będę siedział. I będę ciężkim młotem, o krótkim drzewcu, rozłupywał wielkie kamienie, które fale morskie przez lat tysiące krzesały i zaokrąglały — jednostajnie je będę na drobne rozbijał okruchy, by je potem tam pokłaść można, gdzie koła wozów zbyt głęboko grzęzną. I będzie do mnie przybiegał pies domowy i rękę mą lizał i będę się kęsem mym z nim dzielił. I będą mi utrudzeni, piesi starcy i ze śpiewem wesołem przejeżdżająca młodzież pozdrowienia słali. I będzie tak życie koło mnie przeciągało, piękne, wartkie życie, to za troską to za szczęściem się uganiające — i nie będę leniwie siedział, przypatrując mu się, — lecz będę pracę spełniał, którąby inny za mnie musiał objąć. I może dnia pewnego, gdy słońce wysoko na niebo wypłynie, młot mi się z omdlałej wysunie dłoni, i pies jedyny, którego to obchodzić będzie, zawrze mi językiem oczy, wesząc za pożywieniem.

SZCZĘŚLIWY. Co ty tu czynisz?

NIESZCZĘŚLIWY. Zapalam świecę *(czyni to)*. Pozwolisz przecie, że obejdę pokój za pokojem dla pozdrowienia jeno i pożegnania się.

(Wychodzą z komnaty i idą powoli, to w górę to w dół, z pokoju do pokoju.)

SZCZĘŚLIWY. To tutaj jadalnia.

NIESZCZĘŚLIWY. Nie potrzebujesz mi jej miejsca wskazywać. Widzę ją tam. Jedna ta świeca, którą w ręce trzymam razi mię i oślepia, jak setne światła, — słyszę śmiechy i brzęk szklanek. Ale tam, gdzie ona siedzi, blada domu pani — tam milczenie, wielka cisza,

SZCZĘŚLIWY. Tu pokój, gdzieśmy wieczorem siadywali.

NIESZCZĘŚLIWY. Lampę miała przesłoniętą. Fortepian zamknięty, ja jednak widzę białe jej palce na białych klawiszach i słyszę dźwięki i poznaję nutę,

SZCZĘŚLIWY. A tuśmy często w ciepłe przedpołudnie siadywali, przy otwartych drzwiach od werandy.

NIESZCZĘŚLIWY. Tu we drzwiach siedziała. — w tem niskiem krześle i upajała się powietrzem i szukała.

SZCZĘŚLIWY. Te drzwi — sypialnia.

NIESZCZĘŚLIWY. Przemknijmy cicho koło niej, nie chcę wejść,

SZCZĘŚLIWY. Tu jest...

NIESZCZĘŚLIWY. Wiem. Mały tajemny kącik, gdzie się w godzinach wyczerpania chowała, gdy zimne dreszcze ją przechodziły i gdy uśmiechać się nie mogła. Pod głowę podsuwała poduszkę, widzę jeszcze, jak włos jej na tle jedwabiu połyska.

SZCZĘŚLIWY. Nie dotykaj poduszki!

NIESZCZĘŚLIWY. Nie lękaj się! Nawet, gdyby jeszcze który z jej włosów na niej pozostał, nie zabiorę go. Te drzwi otwarte, to gotowalnia, — bądź spokojny nie przestąpię jej progu. Ale — to tam — co to?

SZCZĘŚLIWY. Jej suknia.

NIESZCZĘŚLIWY. Tak mała, tak mała! Zapomniałem, iż była tak drobną. Mnie ona rosła z dniem każdym. Gdym ją sobie wyobrażał, ręce swe mi na głowę kładącą, pochylała się zawsze ku mnie *(zbliża się)*. Więc to jej suknia istotnie? Tak drobną była jak dziecię.

SZCZĘŚLIWY. Nie dotykaj jej. Nie dotykaj jej, mówię! Nie dotykaj!

NIESZCZĘŚLIWY. Chcę jeno wyczuć, czy tkanina miękka.

SZCZĘŚLIWY. Ni końcem jednego palca. Nie masz do niczego, co jej było żadnego prawa! Precz! Precz! Z pokoju do pokoju skradasz się jak złodziej. Wciągasz w siebie jej oddech, przejmujesz jej wzrok, co na wszystkiem tu spoczywa. Precz! precz ztąd mówię!

NIESZCZĘŚLIWY. Idę, idę! Jestem pomimo tego wszystkiego szczęśliwszym od ciebie, — mnie ty nic ukraść nie możesz, pójdę teraz tłuc kamienie dla gościńców. Gdy kiedy tamtędy przejedziesz w drodze za uciechą spotkają cię oczy me ze skraju drogi nad rowem. Biedny kamieniarz opuści wtedy młot i uchyli czapki, na sposób biednego człowieka, gdy ty przejeżdżać będziesz.

KONIEC.



nia", według którego „nic na świecie nie jest na swojem miejscu"; zmusza go to do cierpienia nad tym rozdźwiękiem, jaki zachodzi między przeznaczeniem rzeczy i ich życiem.

Z uwag powyższych można wywnioskować, że Brzezina pod silnym był wpływem piewcy belgijskiego, aczkolwiek, trzeba wyznać, postępował dość samodzielnie. Jest to duch nadzwyczaj pokrewny Maeterlinckowi, chociaż bez zaprzeczenia mniej głęboki. Maeterlinck pieśniami swemi torował niejako nowe ścieżki, Brzezina stąpa już po utartych. Zasługa jednak tego ducha, nowożytną wzbogaconego wiedzą, tkwi w tem, że umiał zachować swą odrębność. Poeta ten o nerwach krańcowo wyrafinowanych nie rozprasza się, przeciwnie, on wszystko skupia i analizując siebie zgromadza ostatecznie w jedno odczuwane wrażenia i na ołtarzu je składa Wiecznego.

Tyle o Brzezinie, który bogactwem obrazów, trafnością i rojem porównań z nauk ścisłych, a niezwykłą złożonością i zawiłością zdań wyróżnia się w pewnym stopniu od Maeterlincka, okazując więcej podobieństwa z Baudelaire'm, którego nawet przewyższa odnośnie do „gąszczu słów", za to co do treści w blizkiem jest bardzo pokrewieństwie z twórcą dramatu symbolistycznego, M-ckem, ustępując mu co do głębi myśli, co do twórczości samej, często tak chorobliwej, lecz zarazem tak oryginalnej. Nakoniec Brzezina jest wielkim indywidualistą, M-ck zaś, zwłaszcza w dramatach, jest nim o wiele mniej.

Zestawiając tyle razy te dwa nazwiska obok siebie miałem zamiar wykazać jedynie ich pokrewieństwo duchowe, a nie porównywać ich jako dwóch równych wielkości, bo równe nie są.

Zygmunt Makowiecki.



Uniwersytety ludowe
w Skandynawii.

(Ciąg dalszy).

Po ukończeniu pierwszego kursu zapragnęli młodzi ludzie posłać siostry swe i narzeczone do szkoły Kolda. Nauczyciel nic nie miał przeciw temu i już na następny kurs zjawiło się kilka młodych włościanek. Zastęp ich z czasem stawał się coraz liczniejszy. W szkołach, które zakładano podług wzoru Kolda, znajdowała się tak wielka ilość uczennic, iż zmusiło to do utworzenia dwóch kursów funkcyonujących na przemiany, jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet.

Przykład działalności Kolda, uwieńczonej pomyślnym skutkiem, zachęcił do naśladownictwa. Nowe podobne zakłady powstawały w różnych stronach Danii, lecz dopiero po nieszczęśliwej wojnie w r. 1864 praca na polu oświaty ludowej przybrała rzeczywiście imponujące rozmiary. Zrozumiano, że uszczuplony kraj wykształcić musi olbrzymi zastęp nowych, dzielnych, światłych ludzi, by powetować choć w części straty spowodowane utratą Szleswiku i Holsztynu, ziemi i ludzi. Zrozumiano, że liczyć się teraz trzeba z każdą jednostką, która pozostała jeszcze przy koronie Danii, że siła, rzutkość i dzielność każdego obywatela, każdej obywatelki kraju ważą już wiele na szali egzystencyi nielicznego narodu i że zakładanie uniwersytetów ludowych jest najznakomitszym do przeprowadzenia tych celów środkiem. Przed wojną 64-go roku było w Danii 7 uniwersytetów ludowych, już w r. 1870 liczono ich 30, dziś jest ich 70. Najstarsza przez Kr. Flora w Röding założona szkoła, musiała się wprawdzie cofnąć na północ, umykając przed szponami pruskiego orła, lecz wzniesiono ją na nowo na gruncie duńskim o kilka kroków od granicy niemieckiej, by wpływ jej tworzył tamę oporną przeciw falom germanizmu, płynącym od południa. Do szkoły tej wysyłają Duńczycy swoje w „Volksschuli" niemieckiej udręczone dzieci, by ogrzać mogły serca przysłuchiwaniem się opowiadaniom z historyi ojczystej, wykształcić dusze na skarbach ojczystej literatury. Co rok spotyka się w uniwersytetach ludowych duńskich 5000—6000 młodych ludzi; ogół frekwencyi od czasu założenia pierwszej szkoły do dni dzisiejszych dosięga cyfry 100,000 do 120,000 osób. By przedstawić w należytem świetle znaczenie tych liczb, nadmienić należy, iż Dania liczy ogółem zaledwie dwa miliony mieszkańców, oraz, iż w przybliżeniu *każda dwudziesta osoba* uczęszczała do uniwersytetu ludowego; każda *piąta rodzina* posiada dziś członka wykształconego w szkołach wyższych lub uniwersytecie ludowym.

Przykład Danii podziałał silnie na ościenne kraje. Po roku 1864 założono pierwsze uniwersytety ludowe w Norwegii, wkrótce potem i w Szwecyi. W latach ostatnich ruch ten przeniósł się do Finlandyi i rozszerzył się tam z niezwykłą szybkością. Finlandzka młodzież akademicka wzięła się z młodzieńczym zapałem i niezmordowaną wytrwałością do utworzenia podobnych szkół w kraju ojczystym. Urządzano loterye, koncerta, zabawy ludowe dla zebrania potrzebnych na to funduszy, wysyłano najdzielniejszych i najlepszych mówców na wieś, by pozyskać ludność wiejską dla sprawy wykształcenia. Wielu młodych ludzi udało się do Danii, by się zapoznać na miejscu z funkcyonującemi tam zakładami. Dzięki tym usiłowaniom otrzymała Finlandya w przeciągu kilku lat 13 uniwersytetów ludowych, dla wielu innych poczyniono już prace przygotowawcze: zebrano biblioteki i utworzono zbiory naukowe.

W każdym z wymienionych krajów: w Danii, Norwegii, Szwecyi i Finlandyi noszą uniwersytety ludowe nieco odmienny charakter, jestto naturalnem — zależą one bowiem w znacznej mierze od charakteru narodowego, od obyczajów i potrzeb danego ludu. W ogólnych zarysach atoli kierunek ich i dążenia pozostają we wszystkich krajach jednakowe. Wspólnym wszystkich tych szkół celem jest rozbudzić, ożywić, zapalić młodzież — wychować szczęśliwych, dzielnych ludzi, młodzieńczej epoce życia przywrócić prawa właściwych lat szkolnych, lat poświęconych kształceniu się w tej formie, w jakiej to czynią wszechnice. Słusznie nadane im zostało z tego powodu miano „uniwersytetów" ludowych.

O wykładach, wewnętrznem urządzeniu oraz życiu uczniów w tych szkołach podaje panna Friberg liczne wiadomości, zebrane przy osobistem ich zwiedzaniu, oraz na prelekcyach miewanych w Finlandyi, Norwegii i Danii.

I tak uniwersytety ludowe znajdują się na wsi, i zajmują własne budynki, nieliczne tylko zakłady zmuszone są brakiem środków lokować działalność swoją w domach wynajętych. W budynku głównym znajduje się jedna lub dwie sale wykładowe, sala gimnastyczna, biblioteka, czytelnia, pokój stołowy i zazwyczaj mieszkanie przełożonego, — na piętrze i w budynkach sąsiednich mieszkania uczniów.

Jednem z zadań szkoły jest dać uczniom nietylko teoretyczne wykształcenie, lecz przyzwyczaić ich także do uczciwego, spokojnego, rodzinnego życia. Dla tego też, mieszkając w szkole, uczniowie obcują codziennie z rodzinami nauczycieli, obiadują przy jednym z niemi stole, w wolnych godzinach przebywają naprzemian w czytelni lub w pokoju przeznaczonym do zabaw towarzyskich. Kurs nauk trwa 6 miesięcy, od 1 października do 1 kwietnia, lub od 1 listopada do 1 maja, zależnie od warunków miejscowych. Czas ten zużytkowuje się bardzo sumiennie. Codziennie wysłuchują uczniowie 5—8 wykładów; dodać do tego należy praktyczne zajęcia; tak np. dla mężczyzn ogrodnictwo, gospodarstwo rolne, buchalteryę, rysunki, wyrabianie przedmiotów z drzewa; dla kobiet: tkanie, przykrawanie odzieży, w niektórych szkołach przygotowywanie potraw etc. O dwóch przedmiotach wykładowych: języku ojczystym i historyi, wspominaliśmy wyżej. Oba te przedmioty bywają nader gruntownie opracowywane. I tak wykład historyi zajmuje np. każdej zimy około 300 godzin. Dodać należy, iż w zakres wykładów historyi wchodzi, oprócz dziejów ojczystych i ogólnych, także mitologia, prawodawstwo, rozbiór i wyjaśnienie rozmaitych systemów państwowych, rząd krajowy, samorząd gminny i statystyka. Z nauk przyrodniczych wykładają: zoologią, botanikę, fizykę, chemię, hygienę, geografię i matematykę, w niektórych szkołach zaprowadzono też wykłady astronomii, geologii i mineralogii, — w szkole w Askow (Jutlandya) wykład języka angielskiego.

Nasunąć się tu może pytanie, czy różno odność ta i rozmaitość przedmiotów wykładowych nie przyczynia się do rozwinięcia powierzchownego wielowiedztwa i pseudowykształcenia w słuchaczach? Wieloletnie doświadczenie upoważnia jednak do przeczącej odpowiedzi. Młodzi ludzie kształcący się w uniwersytetach ludowych, nawykli do wytrwałej i ciężkiej pracy fizycznej i pracowitość ta i gruntowność jest również charakterystyczną dla ich dziedziny duchowej.

Nie wyczerpane, lecz świeże, wypoczęte siły umysłowe przynoszą z sobą i w tem należy szukać przyczyny zdumiewająco szybkich postępów i rozmiaru w tak krótkim stosunkowo czasie przyswajanych wiadomości. W prostych tych umysłach powstaje mnóstwo pytań, z radością więc witają możność otrzymania odpowiedzi, wykazując ogromną pilność i zapał do nauki. System nauczania jest w uniwersytetach ludowych całkiem odmienny od systemu panującego w klasycznych i realnych gimnazyach; niczego się tam nie uczy „do egzaminu", uczniowie po ukończeniu kursu nie otrzymują nawet żadnych świadectw. Cel tych szkół bowiem jest przedewszystkiem praktyczny: chodzi bowiem o pogłębienie myśli, zaostrzenie sądu, rozwinięcie moralne i duchowe. Wykłady z historyi np. nie ograniczają się na wyliczaniu wojen, bitew, dowódzców i dat chronologicznych, — przeciwnie: na szczegóły te kładzie się nader słaby nacisk, lecz tem więcej poświęca się czasu badaniu przyczyn i skutków historycznych wydarzeń, porównywaniu rozmaitych epok pomiędzy sobą, charakterystyce osobistości, których życie i czyny zapalić mogą do naśladownictwa, wpajając w dusze miłość prawdy, cnoty, uczciwości. Po trzech godzinach wykładu następuje zwykle godzina repetycyi, podczas której może nauczyciel zbadać czy uczniowie pojęli dokładnie przedmiot wykładu, a ci ostatni żądać wytłomaczenia punktów, które im jeszcze pozostały niejasne.

Ważną rolę odgrywa w tych szkołach śpiew solowy i chóralny. Każdy wykład lub lekcya zaczyna się śpiewem i śpiewem też bywa zakończona. Do śpiewników szkolnych dostarczyli najwybitniejsi poeci skandynawscy materyału.

Kilka wieczorów w tygodniu poświęcone bywa wspólnej dyskusyi. Uczniowie nabywają przez to wprawy w jasnem i zwięzłem przedstawieniu myśli, jako też rozważania każdej kwestyi z rozmaitych stron i punktów widzenia, uczą się też jednocześnie przewodniczenia większemu zgromadzeniu, spisywania protokółów etc. Często poruszane bywają pytania z dziedziny etyki, np. znaczenie i wartość pracy cielesnej, — znaczenie uprzejmego obejścia w życiu, najlepszy sposób zużytkowania godzin wolnych itd. Atoli często i praktyczne kwestye, jako to gospodarstwo rolne, prawo gminne itp., wybierane są za tematy dyskusyi. Wieczory takie mają dla uczniów wiele uroku i każdy wypowiada swobodnie swe zdanie, mówi z zupełną szczerością i ufnością, przez co rozprawy przybierają charakter ożywiony i urozmaicony. Okoliczna ludność wiejska schodzi się też do szkoły na takie zebrania, zarząd szkolny nie stawia temu, ma się rozumieć, żadnej przeszkody. W wielu szkołach wydają młodzi ludzie ulotne pisma lub i większe „gazety", z artykułami wstępnemi, opowiadaniami, wierszami, z zapytaniami i odpowiedziami; — gazeta taka odczytywaną zwykle bywa na zebraniach wieczornych, lub zgromadzeniach dyskusyjnych.

Religia nie wchodzi w zakres przedmiotów wykładowych uniwersytetów ludowych. Wydawać może się to dziwnem z tego powodu iż założycielem szkół tych był duchowny, — i to nader pobożny. Pozorne to przeciwieństwo wyjaśni się skoro dodamy, że Grundtwig nacisk kładł na *chrześciańsstwo czynów*, potępił zaś czcze dogmatyzowanie. „Litera zabija — duch tylko wlewa życie" — mówił — i „Religie w sercu nosić trzeba, nie na ustach", — miłość bliźniego powinna świecić z każdego słowa, każdego czynu nauczyciela, — tylko drogą przykładu wszczepić się daje prawdziwy chrześcianizm w młode serca. Dla tego też usunął Gr. wykład religii, jako przedmiotu programowego, starając się natomiast, by cały kierunek i duch szkoły wpłynął na ucznia podniośle i umoralniająco. Zasady te założyciela przenikły i późniejszych kierowników uniwersytetów ludowych. Panuje w nich czysta, zdrowa atmosfera moralna, serdeczność i braterstwo łączy uczniów pomiędzy sobą i z nauczycielami. Częstokroć przybywają do zakładu młodzi ludzie przytępieni, zmęczeni życiem, pozbawieni wszelkich ideałów, — a odchodzą ztamtąd, uczywają, iż odnaleźli dawną wiarę w ludzkość, wynoszą w sercach nowe, wzmacniające uczucia i nadzieje. Piękne to pożycie uczniów i szlachetny kierunek duchowy zawdzięczają uniwersytety ludowe w pierwszej linii nauczycielom w nich pracującym. Liczba profesorów jest różną. W zakładach najprostszych i najmniejszych jest ich 3 - 4, w wyżej wymienionym, wzorowym zakładzie w Askow jest 10, w niektórych latach 12, pomiędzy nimi znajdują się naturalnie i siły kobiece. Emancypacyjne dążności kobiet mają w uniwersytetach ludowych najsilniejsze poparcie i najszczerszych przyjaciół.

(Dokończenie nastąpi).



JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Krolestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)



(Ciąg dalszy.)

VI.

Małe i samo przez się niewiele znaczące wydarzenie, które miało miejsce wczoraj, rzuca pewne światło na warunki w jakich tu żyje ta część ludności, której uciemiężenie i zgnębienie ostateczne leży w interesie Rosyan, jakoteż wykazuje jasno, jak niemiłemi są stosunki zamożniejszej klasy ze służbą i niższymi w tej okolicy.

Zaproszeni w sąsiedztwo, udaliśmy się tam, by spędzić razem wieczór, a gdy zasiedliśmy do kolacyi, niezwykle hałaśliwy sposób podawania talerzy przez służącego zwrócił naszą uwagę. Przerwały się rozmowy, jedni przypuszczali, że lokaj musiał być pijany, inni sądzili, że mu tylko chodziło o ustawienie złoconej litery *W*, na krawędzi talerzy, naprzeciw każdego gościa, o co się starał widocznie, wkrótce jednak przeszliśmy do innych tematów; lecz zaledwie skończyła się kolacya i całe towarzystwo udało się do obok położonego salonu, usłyszeliśmy przeraźliwe krzyki. Wyżej wspomniany służący, któremu wódka odebrała przytomność, wpadł w szał istotny, a zaopatrzywszy się w ogromny nóż w kuchni rzucił się z nim na stróża. Odebrano mu nóż, lecz nie przestawał krzyczeć i hałasować, biegając tam i napowrót po obszernym przedsionku, zatrzymując się chwilami dla zapalenia sobie papierosa, grożąc zabiciem i łając obecnych ostatniemi słowami po rosyjsku (służył poprzednio w ruskim domu). Jego zachowanie się było o tyle niepokojącem, że nie uważano za bezpieczne trzymać go przez noc w domu i zdecydowano się jednomyślnie na posłanie po policyą. Okazało się jednak, że najbliższy strażnik mieszka ztąd dość daleko, tak, że przy największym pospiechu będzie go można sprowadzić zaledwie za godzinę. Upłynęły dobre dwie zanim się zjawił. Tymczasem trzeba było pilnować i doglądać waryata, który zachowywał się wciąż niespokojnie. Zwróciłem uwagę jednego z młodych panów domowych, że człowiek ten zbliżył się do jakiejś szafy; odpowiedział mi na to, że tam są jego własne rzeczy i nie uważał za właściwe pilnować go, gdy ją otwierał, lecz po chwili tego pożałował. „Aj! — krzyknął — wyjął z szafy rewolwer mego brata, który ukradł zapewne z kieszeni jego paltota, nie mów pan tylko nic o tem paniom". Te jednak spostrzegły wkrótce, że szaleniec latał z nabitym rewolwerem w ręku wznosząc go w górę, machając nim na wszystkie strony i niektóre zaczęły się mocno obawiać, gdy nagle wypadł strzał.... Dwie, blade jak ściana, służące, wpadły do pokoju wołając: „teraz strzela!" wszyscy się rozbiegli, jedni by powstrzymać możliwe nieszczęście, inni by się ukryć przed niebezpieczeństwem. Okazało się, iż lokaj ten, który pozostawał w służbie zaledwie od miesiąca i sześciu dni, był niebezpiecznym człowiekiem. Dziewczęta opowiadały, iż zeszłej niedzieli, gdy państwo nie byli w domu, prawił coś o podpaleniu dworu „by wydusić razem całe gniazdo" i niejednokrotnie już odzywał się z rzeczami w podobnym rodzaju. Pan domu posłał po pięciu włościan ze wsi, by mu dopomogli w ujęciu tego łotra, ale żaden z nich nie śmiał ani palcem go ruszyć, wyglądali przytem jakoś dziwnie ponuro i nieprzyjaźnie. W ostatnich czasach chłop tutejszy tak jest nieustannie podżegany przeciw swym panom i ich rodzinom przez najróżnorodniejszych zagranicznych agitatorów, że sprawia mu radość nieledwie, gdy ci się znajdą w kłopocie. Rosyanie cieszą się niezmiernie z tego usposobienia i rozdmuchują ogień jak mogą. Dość jest dla przekonania się o niem przejść się po wsi; starzy włościanie witają przechodnia grzecznem „niech będzie pochwalony", na co się odpowiada „na wieki wieków", młodzi nie ukłonią się i nie przemówią nigdy. Przed wielu już laty, przy rozmowie o możliwej rewolucyi w Rosyi, powiedziałem: „szczególna to będzie rewolucya, gdy chłopi zaczną palić dachy nad głowami swych liberalnych panów za ich wolnomyślność". Teraz przekonałem się dowodnie o prawdzie tego twierdzenia. Propozycya moja, byśmy sami ubezwładnili tego hultaja, została bez wahania odrzuconą i zadziwiła nawet obecnych. „Chyba po to, by policya stanęła po jego stronie i nas zaaresztowała zamiast niego." Gdy jednak zamierzał strzelać powtórnie, rzucił się nań furman, mający więcej odwagi niż jego panowie, i choć sześciu ludzi z trudnością dało sobie z nim radę, związano go i ubezwładniono, niemniej z obawy przed policyą przyniesiono miękką pierzynę, na której go położono i trzymano, bo się rzucał i wrzeszczał jak opętany. Nastąpiła chwila ciszy i spokoju, wreszcie turkot się rozlega i nadjeżdża strażnik, niepocześna figurka w mundurze, z okularami na nosie, długimi, przygładzonemi w tył włosami i wyrazem fizyonomii, zdradzającym głupotę, niezdarność, drobiazgowość i pedanteryą. Zaczyna od przesłuchiwania świadków, lecz z obawy zemsty służącego, gdy zostanie wypuszczonym na wolność, nikt nie chciał świadczyć przeciwko niemu. Stróż nic nie wie o tem, że ten na niego rzucał się z nożem, dziewczęta nie słyszały groźb jego i podżegań, rewolweru, który rzucił w krzaki w ogrodzie na razie znaleźć nie można w ciemności, jednem słowem wychodzi na to, że państwo, którzy kazali go związać, są winni jedynie. Proponują strażnikowi pieniądze, lecz, że zrobiono to nieostrożnie i niezręcznie w obecności innych, odrzuca propozycyą z godnością. Przystępują do przejrzenia tego, co znaleziono przy obwinionym: najprzód pugilaresik pełen biletów wizytowych, jakiejś ruskiej baronowej (służba lubi sobie przywłaszczać bilety wizytowe swych państw, by potem niby w ich imieniu żądać różnych towarów z magazynów, do których ich posyłano) jakieś narzędzie do lania kul i inne drobiazgi; rozpatrzywszy te rzeczy urzędnik kazał rozwiązać skrępowanego, ten zaś czując się wolnym zaczyna hałasować na nowo. Twierdzi, iż nie opuści tego domu, nim mu nie zapłacą pensyi za trzy miesiące, jakkolwiek służył tylko miesiąc i sześć dni; lubo chwila obecna nie zdaje się nadawać do rekrymi-nacyi z jego strony, gdy jest aresztowanym za rzucanie się z nożem i strzelanie z rewolweru do ludzi, strażnik popiera jego zdanie i powiada, że zabierze go ze sobą. „Chodzi mu niemało o to, by więzień jego był dobrze zaopatrzony w pieniądze — mówi do mnie Henryk — zaledwie znajdą się na bryczce, natychmiast rozpoczną się układy o to, ile ma wziąć za dozwolenie, aby ów niby aresztowany zeskoczył z wozu i zniknął w ciemności. Za pół godziny łotr ten może być tu napowrót i podpalić zabudowania, jeżeli się nie ośmieli podłożyć wprost ognia we dworze". By zapobiedz tej ewentualności udają obawę o tak cenną osobę urzędnika, któremu grozi niebezpieczeństwo znalezienia się sam na sam z uwolnionym ze swych więzów przestępcą i dodają mu dla pewności jednego z najzaufańszych sług w domu. Nie idzie zatem by to, czego się obawiano, nie mogło się stać w innej chwili, dziś naprzykład. Nareszcie odjechali, a ja sądziłem, że ten niemiły epizod, który nam tak zakłócił przyjemność tego wieczora, jest skończonym i będzie wkrótce zapomnianym, to też z największem zdziwieniem, wróciwszy do salonu, znalazłem panie przybite i niespokojne. „Ale czegoż panie się jeszcze trwożą — spytałem — gdy się rzecz skończyła i przeszła szczęśliwie". „Łatwo to mówić panu, który za parę tygodni będziesz setkami mil od nas oddalony — rzekła mi młoda gospodyni domu,

nic się jeszcze nie skończyło i nie przeszło szczęśliwie, wy się rozjedziecie w różne strony, my tylko z moim mężem pozostaniemy na miejscu i wszystkiego obawiać się możemy. Ten człowiek będzie się mścił na nas, za to, żeśmy go związali i albo zabije nas albo ogień nam pod dom podłoży, gdyż tak się kończą zwykle sprawy tego rodzaju. Szwagier mój znalazł jednego razu parę koni, pasących się na jego polu, kazał więc je zająć, a gdy nazajutrz właściciel ich przyszedł dopomnieć się o nie, kazał mu zapłacić 50 kopiejek kary, Chłop zaczął lamentować i skarżyć się, że jest biedny, że nie ma czem zapłacić. „Nie, tym razem musisz mieć karę, niewielka to suma i nic dla ciebie nie znaczy, bo nie jesteś biednym, masz 8 koni, z których niedawno cztery puściłeś także na moje pastwisko.“ Chłop zapłacił, lecz tegoż wieczora, skradając się z widłami od siana, zaszedł mego szwagra z tyłu i zabił go jednem ich uderzeniem. Przeszło mu to prawie bezkarnie dla braku dowodów.

„Istotnie smutne wiedziemy życie i niebezpieczne są otaczające nas warunki, przy takiem wszechstronnem skrępowaniu — dodał jeden z sąsiadów — wypędziłem w tym roku na wiosnę służącego złodzieja i już od tego czasu dwa razy były podpalenia w moim dworze. Nikt nie wątpi nawet o tem, kto jest ich sprawcą, ale nie mogę mu dowieść niczego.

Wyjechaliśmy ztamtąd około drugiej w nocy, ale nie udało nam się rozproszyć ani na chwilę ogólnego przykrego nastroju i przygnębienia. Gdy wracając do domu przebiegałem myślą wypadki owego wieczora, uderzyło mię, do jakiego stopnia wywołane ogólnym uciskiem polityczne i społeczne nieporozumienia i zatargi odzwierciadlają się w tem marnem dzisiejszem zajściu.

Przyszło mi na myśl położenie Galicyi w 1846 roku, gdy chłopi, których panowie chcieli nakłonić do przyjęcia udziału w powstaniu, dzięki kłamliwym podżeganiom wysłańców austryackiego rządu, rzucili się jak jeden mąż z całą wściekłością na szlachtę, która według ich mniemania przeszkadzała cesarzowi w dokonaniu zmian dla ich dobra. W przeciągu trzech dni 2000 mężczyzn, kobiet i dzieci wyższego stanu zostało wymordowanych i zasiekanych na śmierć. Widać ciężkie były niegdyś winy panów względem chłopów, gdy podobna rzecz była i jest jeszcze możliwą, dziś jednak właściciele majątków są o tyle ludzcy i sprawiedliwi, że tylko nieświadomość, nierozwinięcie i zwierzęcy niedźwie, a tak starannie utrzymywany przez Rosyan, stan chłopa, jest przyczyną tej niedoli i nienawiści. Ucisk wszechstronny jest przyczyną, że wszystko tu, nawet rozdźwięk klasowy, staje się wprost karykaturą tego, czem jest w całej Europie. Dziwnem wydawać się może, iż pomimo niechęci do klas wyższych, niższa tutaj (jak może w żadnym innym kraju) nierównie głębiej jest przejętą kwestyą narodową niż socyalną. Nie do pojęcia prawie, że ta walka klasowa tak zajadle się tocząca w dzisiejszych czasach wszędzie, nie znalazła odpowiedniego dla siebie gruntu w Polsce i nie zawadziła o nią prawie. Niechęć pospólstwa tutejszego do Rosyan jest stokroć żywszą, niż do panów, Rosyanin jest pogardzanym przez nich, jako niekatolik, a najgorszem połajaniem u nich jest „moskal“. Od panów dzielą ich tylko ekonomiczne warunki, pomiędzy zaś Rosyanami a niemi stoi o wiele groźniejsza siła, bo religia, która tutaj ma największe znaczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z estrady i sceny.

(Balladyna).

Kochał Słowacki Balladynę swoją. Gdy między ludzi szła straszna i ponura w fantastycznym orszaku legendowych królów, rycerzy, sylfów i duchów wyśpiewał jej pod adresem „poety ruin“ cudną uwerturę, a w listach do Matki swojej takie szeptał zwierzenia:

„W przeciągu miesiąca upłynionego napisałem nową sztukę teatralną, — niby tragedyą pod tytułem Balladyna. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgownica urodziła, ta tragedya jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj obszerniejszy niż ta biedna ziemia, bo idealny. Zobaczysz kiedyś, Mamo kochana, co to za dziwna kraina i czasy. Tragedya cała podobna do starej ballady, — ułożona tak, jakby ją gmin układał, — przeciwna zupełnie prawdzie historycznej — czasem przeciwna podobieństwu do prawdy; *ludzie jednak starałem się, aby byli prawdziwi i aby w sercu mieli nasze serca...*

„O gdyby stanęła kiedyś przy królu Lirze! — Szekspir i Dant są teraz moimi kochankami.“

A potem gdy współczesna krytyka i publiczność z wzdrygnięciem ramion lub chłodną obojętnością przeszła nad Balladyną do porządku dziennego, skarżył się Słowacki w stancach Beniowskiego na sądy ujemne, czasem idjotyczne:

„Nie podobało się już w Balladynie,
Że mój maleńki Skierka w bańce z mydła
Cicho po rzece kryształowej płynie,
Że bańka się od gazowego skrzydła
Babki — konika rozbija i ginie,
Że w grobie leżąc Alina nie zbrzydła,
Lecz piękna z dzbankiem na głowie martwica
Jest jak duch z z woni malin i księżyca.

„Nie podobało się, że Grabiec spity
Jest wierzbą, — że się Balladyna krwawi,
Że w całej sztuce tylko niezabity
Sufler....“

Jeden tylko Zygmunt Krasiński nie podzielał ujemnych opinii, mających kurs w ówczesnem społeczeństwie.

On w Balladynie widział nie tylko najpiękniejszą perłę literatury polskiej, lecz klejnot nad klejnotami w koronie literatury wszechświatowej:

„Com przed laty myślał o siostrze Aliny — pisze w r. 1840 do Juliusza — to samo do dziś dnia myślę. *Midsummer night'sdream!* (Sen nocy letniej). Nic doskonalszego a jednak rzeczywistszego co do formy i treści swojej nie ma na świecie.... Julku, zaklinam Cię, nie dbaj o te gwary, co kiedyś nawrócą się do Ciebie. Trzymaj na kształt harfy eolskiej duszę Twoję wyżej nad wszystkie dłonie ludzi, wśród powiewów nieba. Niech myśli Boga, promienie gwiazd i skrzydła przelatujących aniołów grają na niej — a nie myśli ludzi, redakcye paryskie, zdania, uwagi, naprawy.“

A potem jeszcze w liście do Gaszyńskiego, w poznańskim „Tygodniku literackim“ (rocznik IV) i w krakowskim „Czasie“ snuł złocistą tkankę zachwytów swoich nad dziełem, „które w głowie Słowackiego duch Szekspira porodził“:

„W Balladynie — mówi — jest najpiękniejszy *midsummer night'sdream*, najpiękniejsza epopea, ale nie homeryczna, jak „Pan Tadeusz“, tylko Aryostowska, sama z siebie żartująca, pryskająca na wszystkie strony, fontasmagoryczna, kapryśna, swawolna itd.“

Późniejsza krytyka sprowadziła zachwyty Krasińskiego do właściwej miary, — ale nikt, ani Nehring, ani Małecki, ani Bełcikowski, ani nieubłagany wróg Słowackiego Tarnowski nie mogli odmówić Balladynie pierwszorzędnych piękności. Mnie Nehringowskie postawienie kwestyi wydaje się najbliższem prawdy, bo analiza Małeckiego podsuwa, zdaniem mojem, poecie błędne intencye i motywy tworzenia, a Tarnowski posuwa się za daleko w sprowadzaniu oryginalnych pierwiastków Balladyny do zera, w przesadnem generalizowaniu wpływów Leara, Macbetha i Snu nocy letniej. Kończę zatem tę pobieżną notatkę o krytykach Balladyny następującem zdaniem wrocławskiego profesora:

„Jest to poemat prześliczny i pełen poezyi a w tej poezyi jest pełno zieloności i woni wiosennej, czuć w niej tchnienie i siłę wracającej z obumarcia zimowego do życia natury. To jest poezya, która tchnienia natury zamieniła na słowa i widzenia. Krasiński najtrafniej ją ocenił, że to jest najpiękniejszy Szekspirowski „Sen nocy letniej“, nam niech będzie wolno tę interpretacyą dodać, że jest to najpiękniejsze udramatyzowanie wiosny, w duchu Szekspira poczęte“.

* * *

Pokusić się o stosowną wystawę Balladyny może tylko scena rozporządzająca wielkim personałem, pierwszorzędnemi siłami i doskonałą mechaniką teatralną. Dziwić się zatem nie można, że, mimo wypożyczonych z niemieckiego taatru kostyumów, zakrawała ta *poznańska* Balladyna chwilami na karykaturę.

Jeżeli jednak cofniemy się pamięcią 6 lat wstecz i porównamy ówczesną wystawę z tegoroczną, to bądź co bądź pokłon oddamy reżyseryi obecnej. Wonczas była to od początku do końca parodya Słowackiego, dziś gdzieniegdzie znac było staranność i szacunek dla utworu mistrza. Przynajmniej maszynerye, z wyjątkiem piorunów, funkcyonowały prawidłowo, przynajmniej scenerya w niektórych momentach była stylową i pełną. Krzyczący anahronizm stanowił tylko widok wsi o piętrowych domkach pokrytych dachówką. Dla uzupełnienia humorystycznego efektu należało jeszcze ukazać dymiącą lokomotywę, słupy telegraficzne i latarnie elektryczne.

Wręcz komiczne wrażenie sprawiała też uczta na zamku Kirkora. Wspaniały był to bankiet zaiste. Około stołu zasiadło trzech rycerzy, na tronie Grabiec, na poręczowych krzesłach Balladyna i Kostryn — no! wreszcie Skierka i Chochlik — nikt więcej.

W takiem otoczeniu, nieruchomem nadomiar i sennem, ta straszna scena przekleństw i halucynacyi skurczyła się i zbladła. Tu trzeba tłumów, trzeba wrzawy biesiadnej, trzeba wielkich kontrastów, a jeżeli dyrekcya wprowadza do „Kościuszki pod Racławicami całe zastępy statystów, to należało dla tragedyi Juliusza przynajmniej tyle okazać pietyzmu, ile się okazuje efektownej bombie Lassoty. Kostyumy męzkie odznaczały się dziwną pstrokacizną, Balladyna jednak. Alina i Goplana ujawniły w toaletach swoich sporo smaku, stylu i artyzmu. Uderzał tam wprawdzie gdzieniegdzie charakter bizantyński, lecz trudno fantastyczności praw wszelkich odmówić w tych mrokach balladowej epoki, w krainie cudów i czarów. Czego jednak wybaczyć nie mogę kierownikom teatralnym, to potwornego amputowania utworu. Nie wiem, czy reżyseryi wiadomo, że Małecki w drugim tomie swojego studyum o Słowackim podał najdokładniejszy plan przykrojenia Balladyny do wymagań scenicznych, a lubo warunki teatru naszego wymagałyby może jeszcze kilku zmian, skróceń i poprawek, to utwór w takich kształtach wprowa-

dzony na scenę wywarłby niezawodnie korzystniejsze wrażenie od szarpaniny poznańskiej. Zwracam tu mianowicie uwagę na zwyczaj panujący u nas, że każdy aktor urabia sobie i obcina rolę według własnego widzimisię, a z takiej procedury rodzą się istne dziwolągi. Dla przykładu przeciwstawię tu maleńki wyjątek oryginału teatralnej korekcie.

W końcowej scenie Balladyny kładzie poeta w usta *Wdowy* słowa następujące:

„Na dzieci
Skargę zanoszę... Mówią, że królowa
Piękna jak Anioł, niechaj ona sądzi...
Miałam dwie córki, stara, biedna wdowa, —
Żywiłam obie... Jak to często błądzi
Człowiek na ziemi, czekając pociechy.
Młodsza uciekła z pod matczynej strzechy,
Niedobre dziecko. Lecz druga — o Boże!
Królowo moja, ty jak anioł biała,
Sądźże ty sama! — druga poszła w łoże
Wielkiego grafa: bogdajbym skonała,
Jeśli ja kłamię; graf ją wziął za żonę. —
Królowo moja, bogdaj ci koronę
Bóg wiecznie trzymał na tej mądrej główce,
Osądź!

Z powyższego ustępu ulepiła sobie korekta teatralna takie literackie cacko:

„Na dzieci
Skargę zanoszę . . . .
. . . .
Miałam dwie córki, stara, biedna, wdowa, —
ywiłam obie . . . .
. . . .
Młodsza uciekła z pod matczynej strzechy,
Niedobre dziecko. Lecz druga, — o Boże! —
. . . .
. . . . Druga poszła w łoże
Wielkiego grafa . . . .
. . . . Graf ją wziął za żonę
. . . .
. . . .
. . . . . .

Tak się u nas poprawia poetę.

Z artystów występujących w „Balladynie“, należy się pierwsze miejsce bez wątpienia przedstawicielce roli tytułowej, *p. Paszkowskiej.* Była ona zbrodnią, wcieloną w kształty kobiece, groźną, posępną i straszną. Twarz swoją ubierała w chmury i fosforyczne blaski błyskawic, a w głosie jej grały wszystkie furye występku: Strach, okrucieństwo, cynizm, fałsz i ponura determinacya. Z tej demonicznej postaci wychylała wprawdzie chwilami zaambarasowane oblicze nowicyuszka sceny, gdzieniegdzie wprawdzie nie wyzyskała artystka efektów, gdzieniegdzie mówiła nam deklamacyą zdyszaną, że nie przyswoiła sobie jeszcze ekonomii oddechu, gdzieniegdzie ruchy nadto szerokie raziły oko estetyka, ale kreacya Balladyny, jako całość, była wręcz niepospolitem w teatrze naszym zjawiskiem. Zdawało mi się chwilami, że mrok stężały występuje na scenę, taka groza i taka noc straszna biły z tej postaci. Artystka odczuła wszystkie intencye autora i każdy cień zbrodni znalazł w niej tłomaczkę, — najpotężniejszą jednak była w scenie owej, gdy w głuchym lesie szatan zazdrości szepcze jej do ucha, gdy myśl występku tak ją oślepia, że malin nie widzi, a potem w muzyce wichrów słyszy straszny okrzyk: „Zabita! zabita, zabita!“, Zrazu targana niepokojem głuchym, z piętnem drgającego pomieszania na twarzy, później oszalała trwogą, uwydatniła tu Balladyna subtelniej niż w którejkolwiek innej scenie, całą psychologię świeżej jeszcze zbrodniarki. Był to moment prawdziwie artystyczny, a dorównał mu chyba monolog i dyalog z Kostrynem, poprzedzadzający zabicie „króla dzwonkowego“. Tu mimika p. Paszkowskiej zagrała prawdą przerażającą, a rzadko zdarzyło mi się widzieć tak mistrzowską interpretacyę strachu. Cała scena zaludniła się grzechotem szkieletów i jękiem upiorów, zdawało się, że duchy niewidzialne pełzają po scenie i szepczą.

W przeciwstawieniu do „tej kobiety alabastrowej z oczami co jak węgle łyskają z pod rzęsy“ stworzyła pani *Majdrowiczowa* wyjątkowo typ nie rażący ani płaczliwością swoją, ani zmanierowaną mimiką. Alina jej pachniała wiosną i malinami i była jak w kształty ludzkie uwięziony sen dziewiczy o rycerzach i zaklętych królewnach. Na żywe uznanie zasługuje również gra pani Królikowskiej w roli „Wdowy“ nieszczęśliwej. Ta prosta kobieta, której, jak mówi Alina, „do twarzy, kiedy śni głośno o szczęściu swych córek“, ta w posąg boleści zamieniona matka Balladyny imponowała rzeczywiście realizmem swoim i grozą. Pani Królikowska nie zdobyła się już dawno na tyle prawdy i siły, a najgłębsze wrażenie wywarła w chwili, gdy z klątwą na ustach szła jak Lear Szekspirowski w noc ciemną, w szalejącą burzę. Zimną natomiast i sztuczną wydała mi się w scenie sądu. Nie było tam tego ogromu matczynej miłości, który zbrodnię przebacza i woli ginąć na torturach niż córkę na pień zaprowadzić.

Umarła cicho. A na suchej twarzy
Dwa wykopała dołki śmierć kościana,
A w obu dołkach stoją łzy.

Kreacyi Goplany, odtworzonej przez *p. Vernon* nie uważam za szczęśliwą. Artystka bowiem zewnętrznie stworzyła wprawdzie typ z „mgły i galarety“, — nadziemskiego zjawiska utkanego z obłoków, lecz głos jej nieczysty mało posiada śpiewności, a bez niej królowa elfów, fantastyczna bogini Gopła, płynąca za kluczem żurawi, nie w rosę się rozpływa, lecz w piasek. Zapachów róż i lilii wodnych tam nie było.

W otoczeniu Goplany jeden tylko Skierka, w interpretacyi pani *Jakubowskiej,* stanął na wysokości zadania swojego. Powiewny „jak liść ajeru“, migotliwy jak ognik błędny, lekki jak bańka mydlana z baletowym wdziękiem i zręcznością uwijał się po scenie. Chochlik panny *Ogińskiej* natomiast, skaczący w tempie mazurowem w tem królestwie czarów, wywierał raczej wrażenie zielonej żabki niż nadziemskiego sylfa.

Z przedstawicieli ról męskich pierwszeństwo oddaję p. *Grabowieckiemu* w roli Filona. Artysta ten wyposażył anachroniczną, jakby żywcem z sycylijskiej sielanki wykradzioną i dziwnym kaprysem poety na tło przedhistorycznej Słowiańszczyzny rzuconą postać, w iście księżycowy sentymentalizm, w zapach piżmowych listów i ckliwe tony gitary. Takiego Filona stworzyć mógł tylko inteligentny artysta, który poznał i zrozumiał ducha sielankowej epoki i studyował typy łzawych Endymionów, kochających tylko wtedy, jeźli płakać mogą. Z innych artystów wymieniam p. *Jakubowskiego* w starannie wycieniowanej i odczutej roli Kostryna i p. *Knaprzyńskiego* w trudnej roli „dzwonkowego króla“. Ten „chłop rumiany“ miał dużo humoru, szkoda tylko, że z grubej Grabcowej skorupy wyglądał lekki, elegancki amant, kaleczący nadomiar perłowe wiersze Juliusza. *W. R.*

Na Wyłomie.

(Jeszcze o poezyach p. Mizerskiego. „Kuryer“ pali na stosie klasyków. Eusapia Palladino, a Czyński.)

Jeżeli cośkolwiek ten niepoprawny legion heretyków, który na poznańskim gruncie ochrzczono generalnem mianem „Młodej Polski“, przyznać może „Kuryerowi Poznańskiemu“, to chyba jedną stylowość. Wszędzie on równy, wszędzie jednolity. Czy się zabierze do polityki, czy nosek swój wścibi w kwestye społeczne, czy nożem kuchennym nad sekcyą etyki majstruje, czy przez rurę od barszczu analizuje tajemnice piękna, zawsze pozostaje stylowym, zawsze klerykalno-międzynarodowo-scholastyczno-reakcyjno-banalno-bizantyńsko-inkwizycyjnym. — Przypominają sobie zapewne czytelnicy garść uwag feljetonowych, poświęconych na tem miejscu przekładom Anakreonta, dokonanym piórem p. Ludwika Mizerskiego, radzcy konsystorza i posła do sejmu. Zwróciliśmy uwagę na ten wonny kwiatek, wyrosły na jałowej glebie poznańskiej, przyznaliśmy mu zapach i świeżość, lecz nikomu z nas nie marzyło się nawet, że w strofach p. Mizerskiego ukryta jest jakaś olbrzymia pochodnia rozwidniająca noc literatury naszej i zamieniająca blaskiem potężnym głuchą prowincyę w Ateny nad Wartą. A jednak tak mówi „Kuryer Poznański“, więc chyba to prawdą być musi. Odrodzenie świta już w mieście naszem i wkrótce tarcz swą słoneczną wytoczy, gdy p. Mizerski „przestanie więzić w tece swoje rymotwórcze igraszki“. Wtedy jasność wielka zapanuje w „nadwartańskim grodzie“ i wtedy — jak mówi „Kuryer“ — „niechybnie zanucimy poznańskim czarnowidzom na nutę walczyka: Nie mają racyi, nie mają, nie, co o Poznaniu gaworzą źle“. I więcej jeszcze. Nie dość, że krytyk wita w tłomaczu Anakreonta wręcz niezwykłe zjawisko w dziejach literatury, lecz szepce nam na ucho, że ten czarnoksiężnik nie jest bynajmniej takim bezwstydnym grzesznikiem, jakim niewątpliwie był pogański Anakreon. Dzisiejszy radzca konsystorski nie hołdował nigdy „ideałom burszowskim“, a wtedy nawet, gdy krew młodzieńcza w żyłach mu kipiała, „z hasła *Wein, Weib und Gesang* poszedł tylko za ostatnim akordem wcielając weń dwa poprzednie — *i miasto puść'c wodze namiętnościom, jak inni jego rówieśnicy,* przyzwał na pomoc wyobraźni *„Anakreonteia Odaria“* i odtąd codziennie dla własnej rozrywki ulatywał na skrzydłach motylków anakreonckich z przykrego otoczenia w wiecznie pogodną krainę ułudy“. No! więc i patent moralności otrzymał p. Mizerski w „Kuryerze“. Biedny poeta! Jaką mu niedźwiedzią przysługę wyświadczają ci konsystorscy przyjaciele! Jak tym przesadnym panegirykiem i beztaktowną, idyotyczną apologią jego cnotliwości dziewiczej ośmieszają utwór rzetelnego talentu. Ale tak się u nas piszą krytyki i tu ludzie śmią mówić o Atenach.

Mimo tej niewzruszonej „cnoty“ p. Mizerskiego, żal jednak było krytykowi, że radca konsystorski zbratał zię z lubieżnym Anakreontem. Kręci się Kuryerowy panegirysta, zaklina na wszystkie świętości, że sympatye lutni nie są sympatyami duchów, że tejski śpiewak, niefortunny kochanek Euripili, a tłomacz z konsystorza, to dwie całkiem odmienne wartości moralne, lecz wreszcie nie wytrzymał i takie wykrztusił ultimatum: „Nie możemy wcale uważać za wielkie szczęście dla naszych czasów, iż między tyloma klasycznemi dziełami literatury starożytnej przechowały się również anakreontyki; *świat nie straciłby zapewne tak wiele, a byłby mniej pogańskim, gd by większa część klasyków poszła była z dymem.*“ Więc palmy! Palmy Homerów, Sofoklesów, Horaców, Anakreontów, Safony, Alceów, — palmy! Lecz cóżby na to powiedzieli owi papieże z czasów renesansu, którzy czcili i kochali literaturę i piękno heleńskie, którzy watykan zaludniali grecką nagością i zmysłową swawolą w marmury zaklętą. Tak! tam sztukę rozumieli i nie przykładali do niej miary starej dewotki, a dzisiaj nawet, gdy renesansowe zachwyty uleciały już z murów watykanu, krytyki Kuryerowej nie włączą zapewne do kodeksu estetyki swojej. Za to zasuszone bigotki odczytywać ją będą

pilnie ku umocnieniu dusz dziewiczych w cnocie.

„Das hat ka Schiller g'dicht, das hat ka Gooth' g'schrieb'n, das ist von ka Klassiker", — bum! Tę piosenkę brukową ukuto chyba na cześć Kuryerowych krytyków, skazujących klasycyzm na stos i przypominających artystkom teatralnym, *„że studyowanie chodów wysokiej szkoły scenicznej nie byłoby może zbyteczne"*. Iście końska recenzya! Śpiewajmy zatem, śpiewajmy: „Das hat ka Schiller g'dicht" itd.

Oj! śpiewała i Warszawa, lubo z innego tonu, na cześć *Eusapii Palladino* w ubiegłym roku. Najpoważniejsi mężowie głowy potracili i palili wonne kadzidła przed „odźwierną świata duchów", która za pomocą tajemniczych wierzgań, tąstań za brodę i spirytystycznych szturchańców dowodziła jak na dłoni, że cała nasza nauka jest haniebną blagą. Zamykali się w ciemnych pokojach, trzymali ją za ręce i nogi, a ona przy pomocy „duchów" szczypała ich w nos. Prawa fizyki i mechaniki, cała logika, wiedza, — wszystko do góry przewrócone jednem szczypnięciem egzoterycznem, jednem tajemniczem szarpnięciem wąsów. I pisano, z panem Matuszewskim i Ochorowiczem na czele, całe tomy artykułów, zwiastujących nowe prawdy i nowych światów odkrycie. I prowadzono walki tak zacięte, że nieomal krew popłynęła. I wytoczono takie bateryę polemicznych gromów, że ziemia drżała jak w febrze. Ostatecznie Eusapiści tryumfowali, — nikt nie zdemaskował cudownego medium. Przebiegła Włoszka wyjeżdżała z Warszawy jak tryumfatorka, a wagon jej zasypano tylu bukietami, że gdyby nie „duchy służebne", byłaby się udusiła biedaczka w tym potopie kwiatów. Niezręczne duchy! ocaliły ją przed śmiercią, a nie zdołały ją ocalić przed haniebną — klapą. Pojechała do Londynu uśmiechnięta, pełna nadziei i pewna zwycięztwa, wyjechała zdemaskowana, zdeptana, hańbą okryta oszustka. Anglicy nie żartują. Zabrał się do niej dr. Hodgson, wielki pogromca spirytystów, i pewnego wieczora odkrył kuglarstwa Neapolitanki. Na otarcie łez został jej jednak kapitalik, zebrany w Syrenim grodzie, a Warszawie wstyd i nauczka.

Taki koniec wzięła *Eusapiada*. Ale bohaterka jej była przynajmniej sprytną oszustką, która nietylko Prusów, Ochorowiczów, Siemiradzkich, lecz nawet zawodowych badaczy w rodzaju Cezara Lombrosa w pole wywiodła, — u nas w Poznaniu natomiast święcił równe nieomal tryumfy pospolity, ordynarny, niezręczny kuglarz *Czyński* z swojem medyum *„jasnowidzącem"*, swoją chiromancyą, astralnem ciałem i innemi szarlatańskiemi okkultyzmu. Tamta była w swojem rodzaju wyjątkowem zjawiskiem, ten był jarmarcznym oszustem, zdemaskowanym w Włocławku, święcącym tryumfy w Poznaniu. Jedno z pism naszych poświęcało przez cały miesiąc kilka łamów apoteozie szarlatana, dwa inne zachwycały się również jego „objawieniem", — towarzystwa przemysłowe i kupieckie błagały go o odczyty, niektóre z domów arystokratycznych urządzały dla niego rauty, a dziś jeszcze dzwoni mi w uszach okrzyk publiczności, gdy na jednem z seansów zażądałem nieco bolesnej kontroli „jasnowidzącego" medyum: „Nie potrzeba! Okrutny!" A cóż dopiero prowincya? Tam zachwyt nie znał już miary. I koniec był taki, że Czyński, potężny czarnoksiężnik, objawiciel nowych prawd, przyjaciel duchów, duma w więzieniu, jako oszust skazany wyrokiem sądów, nad znikomością laurów poznańskich. *Finita la comedia!* Lecz przyjdzie nowy oszust i nowe rozpocznie się wieńczenie. Blaga i bezczelność z jednej strony, z drugiej miernota, obłuda, no! i — jakże się nazywa? — „ład i porządek" liczyć mogą zawsze na wawrzyn — w Poznaniu. Nie! nietylko w Poznaniu, lecz u nas więcej, niż gdziekolwiek.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA

* **Pamiętniki Niemcewicza.** „Russkij Wiestnik" drukuje w tłomaczeniu pamiętniki Juljana Ursyna-Niemcewicza, znanego poety i historyka. W roku 1794 Niemcewicz był adjutantem Kościuszki, i wzięty razem z nim do niewoli, więziony był czas jakiś w fortecy pietropawłowskiej. Referent Now. Wr." zaznaczając, że pamiętniki zawierają dość, rzeczy interesujących, przytacza następujący szczegół. Na zrobione Niemcewiczowi przy śledztwie zapytania, jaki cel miało powstanie, i co zamierzali zrobić polacy w razie pomyślnego rezultatu, odpowiedział: „Celem rewolucyi było wybawienie kraju od druzgocących go nieszczęść, zmuszenie wojsk obcych do opuszczenia granic i po oswobodzeniu postanowienie o dalszych jego losach. Marszałek Potocki, jenerał Kościuszko i wszyscy zdrowo patrzący na rzeczy — prawdopodobnie ofiarowaliby koronę wielkiemu księciu Konstantemu, pod warunkiem przyjęcia przezeń konstytucyi 3 maja i uroczystego zaprzysiężenia, że rząd nie będzie nadal mieszać się do wewnętrznych spraw kraju". W pamiętnikach są bardzo wyraźne wskazówki ścisłego związku, jakie miały ówczesne ruchy w Polsce z działalnością paryzkich rewolucyonistów. „Jeden z uwięzionych, opowiada Niemcewicz, przywódzców polskich, Mostowski, pozostający w ścisłej przyjaźni z Vergniaud, nie robił z tego tajemnicy i na śledztwie wyznał wszystko, co wiedział o rewolucyi. Sądził on mianowicie, że oswobodzenie Polski było na pierwszym planie rozległych zamiarów żyrondystów. Pomylił się wprawdzie, ale następne wypadki dowiodły, że komitet rewolucyjny we wszystkiem, co się nie tyczyło Polski, bez względu na nienawiść, zmiany, wznoszenie się i upadek partyi, w polityce zewnętrznej zawsze ściśle trzymał się szeroko zakreślonych i ambitnych planów Żyrondy. Już w roku 1792 były roztrząsane kwestye: podziału Włoch na drobne rzeczypospolite, o tem, żeby Ren był granicą Francyi, o uwolnieniu Holandyi od sztatudera i nawet o zagarnięciu Egiptu".



KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. Wiedeńska rada miejska powołała powtórnie p. Luegera na urząd nadburmistrza, a gdy Lueger oświadczył, że wybór przyjmuje, rozwiązał komisarz rządowy radę, z polecenia namiestnika. — W pruskiem ministerstwie oświecenia pracują obecnie nad projektem nowej taksy aptecznej. — Rozruchy na półwyspie bałkańskim spowodują niezawodnie wmieszanie się mocarstw europejskich do spraw tureckich. — Powstanie na wyspie Kubie trwa w dalszym ciągu. Hiszpanie ponoszą bezustanne straty w utarczkach podjazdowych. — Rosya po wyczerpaniu kredytu swojego w Francyi zwróciła swe starania o nową pożyczkę ku Berlinowi. — Według doniesień berlińskiego dziennika „Post" etat ministerstwa wojny w głównych pozycyach ma być utrzymany na stopniu dotychczasowym. — Niemieccy fabrykanci cukru zamierzają utworzyć między sobą kartel celem podwyższenia premii wywozowej z 1,75 na 3 Mk.

Teatr i muzyka. W ubiegłą sobotę odegrano na scenie poznańskiej poraz pierwszy „Ciepła wdówkę" Bałuckiego. Sztuka pod względem techniki scenicznej posiada niewątpliwie zalety, pod względem charakterystyki jednak jest zlepkiem reminiscencyi z dawniejszych utworów a humor tam nieco bruaszny i wysilony. Z artystów występujących w „Ciepłej wdówce" zasługują na uznanie panna Vernon, oraz pp. Wostrowski, Jakubowski Nowacki i Wojdałowicz. Ostatni szczególnie w epizodycznej roli poufałego hotelisty odznaczał się silną charakterystyką i porywającym humorem — W czwartek odegrano na scenie naszej jednoaktówkę Staszczyka p. t. *„Kościuszko w Petersburgu"*. Jedyną zaletą tej luźnej mozaiki kilku historycznych fakcików i anegdot jest tchnienie szczerego i gorącego patryotyzmu. Tego samego wieczoru wystawiono wesoły dyalog p. t. *„Staruszkowie w złotach"*, odegrany po mistrzowsku p. pana Królikowskiego i panią Królikowską, oraz żywą, ruchliwą i szczerego humoru pełną komedyjkę Przybylskiego p. t. „Zjazd koleżeński". Na wyszczególnienie zasługuje tu gra p. Knapczyńskiego. W antraktach odśpiewał p. Majdrowicz poprawnie pieśń „Torreodora" i rzewną piosenkę „Do gwiazdy", a p. Paszkowska wygłosiła „Hagara na puszczy" i „Na sprowadzenie zwłok Napoleona". W pierwszej deklamacyi raziło iście galopowe tempo, — druga natomiast pod względem siły i cieniowania zasługuje na szczere uznanie. — W poniedziałek rozpoczyna p. Kotarbiński szereg gościnnych występów na poznańskiej scenie. — Łódzki teatr Wiktorya zamierza wystawić sztukę węgierskiego autora Csikego p. t. „Bańki mydlane", — Tow. muzyczne krakowskie urządza szereg koncertów historycznych (Bach, Mozart, Beethoven) z odczytami objaśniającemi. — Teatr lwowski wystawi niebawem operę Zeleńskiego p. t. Goplana. — Eleonora Dase zjeżdża w grudniu na szereg gościnnych występów do Wiednia. — W trupie Maurycego Gran, która odpłynęła do Nowego Yorku, znajdują się Reskowie i Lola Beeth.

Odpowiedzi Redakcyi.

— **K. L.** w Bytomiu. Polecamy: 1) J. Morawskiego. Dzieje narodu polskiego. 6 tomów. Cena 18 mrk. (z wskazówką abecadłową 24 mk.) 2) Augusta Sokołowskiego: Dzieje Polski, ilustrowane. 30 zeszytów à 0,60 mr. Dotychczas wyszło zeszytów 9. 3) Teresy z Potockich Wodzickiej: Historya polska. Dotychczas wyszły dwa tomy. Cena 8,80 mr. Wszystkie książki powyższe nabyć można w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, ul. św. Marcina 10. — Za uznanie serdecznie dziękujemy.

Od Administracyi.

W ubiegłym tygodniu otrzymało kilku abonentów podwójnie odbite numery Przeglądu. Administracya gotowa jest numery te wymienić. — Uprzejmie prosimy Czytelników naszych o łaskawe odstąpienie nam nr. 17-go z roku 1894 i nr. 44 z rb. (2 egz.) pisma naszego — za stosownem wynagrodzeniem.

Za redakcyą odpowiedzialny Dr. Wł. Rabski w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 47. Poznań, niedziela 24-go listopada 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Piekary nr. 6. Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Umizgi konserwatywne
w Galicyi

Mamy więc niby nowe rządy w Galicyi. „Pod kawkami“ zasiadł jako namiestnik ks. Eustachy Sanguszko, a do apartamentów zajmowanych dotychczas przez niego w gmachu sejmowym wprowadził się hr. Stanisław Badeni. Ta zmiana osób nie oznacza jednak nietylko nowego systemu, ale nie zapowiada nawet różnicy w szczegółach. Hr. Kazimierz Badeni jest właściwie nadal namiestnikiem, tylko że jego polecenia i rozporządzenia podpisuje ks. Sanguszko, który powinien się właściwie nazywać namiestnikiem namiestnika. Przyjmując z niechęcią ten urząd, ks. Sanguszko wiedział, że nie jest w stanie mu odpowiedzieć, gdyby nie kierowała nim inna ręka, a ponieważ hr. Kazimierz Badeni, jako minister spraw wewnętrznych, jest jego zwierzchnikiem, przeto w każdej sprawie ważniejszej będzie on działał według jego wskazówek, co mu tem łatwiej przyjdzie, iż obu tych dostojników łączą stosunki osobistej przyjaźni. Ponieważ zaś wiadomo, iż hr. Stanisław Badeni był bodaj czy nie najważniejszą osobistością w sejmie, bo wpływowi jego ulegali tak dobrze konserwatyści jak liberali, przeto rządy marszałkowskie ks. Eustachego Sanguszki były już poniekąd rządami hr. Stanisława Badeniego. Zostawszy z tajnego marszałka marszałkiem rzeczywistym, hr. Stanisław Badeni będzie, rzecz prosta, szedł dalej w tym kierunku, w jakim działał jako powiernik księcia marszałka i brat namiestnika.

Jeżeli jednak nic się nie zmieni w rządach namiestnikowskich i marszałkowskich, to nowy sejm pod względem ukształtowania się stronnictw przybierze zapewne nową fizjonomię. Już dziś głośno się mówi o zniesieniu tak zwanej „unii konserwatywnej“. Z jednej strony „Czas“ niejednokrotnie przebąkuje, iż pomysł tej unii nie był zbyt szczęśliwym, z drugiej strony p. Romanowicz w artykułach „Reformy“ także przepowiada zgon jej bliski. Natomiast coraz częściej w organach obozu konserwatywnego spotyka się wycieczki przeciw zbytniemu rozpolitykowaniu się. Jest to nowość, jest to wyrzeczenie się dotychczasowych haseł. Przed kilku laty nie chciano o tem nawet słyszeć. Kto patrzał trzeźwo i spokojnie na walkę naszych postępowców i konserwatystów, ten widział, że z wyjątkiem bardzo skrajnych a nielicznych żywiołów, w walce tej małą rolę grała różnica zasad, że więcej niż o zasady szło o osobistości. Przekonany, że tak jest a nie inaczej, że tylko sprytni karjerowicze dla interesów własnych wyzyskują swój wpływ na ludzi dobrej woli, aby utrzymując ich w ciągłej walce wyciągać dla siebie korzyści, założyłem niegdyś „Kuryera Krakowskiego“, w którym wykazywałem, iż ta niezdrowa walka zużywa tylko siły, wprowadza zamęt, przeszkadza pracy około powszechnego dobra. Ale dziennik istniał tylko przez półtora roku, bo rozpolitykowani mężowie galicyjscy nie raczyli na słowa jego zwracać uwagi, jak wogóle zawsze szydzili z tych co mówili i pisali, że na nieszczęśliwe nasze położenie najlepszem lekarstwem jest rozumna zgoda.

Ale jak zaznaczyłem, czasy się zmieniły. Oto co niedawno pisał skrajnie konserwatywny „Przegląd Lwowski“ z powodu setnej rocznicy rozbioru Polski: „Zawsze grzeszyliśmy tem, żeśmy politykowali za dużo, że zamiast pracować wspólnie, dzieliliśmy się na najrozmaitsze polityczne stronnictwa, że zamiast używać sił do pracy około dobra społeczeństwa, traciliśmy je niepotrzebnie na wzajemne kłótnie o polityczne programy, poglądy i hasła“....

I hr. Stanisław Tarnowski zaczyna czule wzdychać do zgody „porządnych ludzi“. „Powtarzamy to od wielu lat (pisze), że stronnictwo, jakiego nam potrzeba to nie stronnictwo demokratyczne, albo arystokratyczne postępowe albo *zachowawcze*, ale stronnictwo porządnych ludzi, takich, którzy z jakiegobądź stanu pochodzą, w jakimbądź zawodzie żyją, *jakiebądź zresztą mają polityczne wyobrażenia.*“ *Obstupui,* kiedy te słowa będące umizgiem do Romanowiczów, Rutowskich i t. p. którzy przecież do niedawna byli „złymi synami ojczyzny“, przeciw którym pan hrabia pisał ciągle artykuły i broszury, których warcholstwo było wyklinane przez wszystkie organa jego stronnictwa. I pan hrabia twierdzi, że już *od wielu lat* to powtarzał, iż nam niepotrzebne jest stronnictwo konserwatywne, albo jakie inne, ale stronnictwo ludzi porządnych, *choćby dzieliła ich zupełna różnica przekonań politycznych!*

Kiedy to było, panie hrabio, bo ani rusz sobie tego przypomnieć nie mogę? Kiedy to pan i pańscy przyjaciele uznawali za „porządnych ludzi“ tych, co inaczej na sprawy polityczne się zapatrywali? A toż dosyć było mieć odmienne zapatrywanie na byle jaką rzecz podrzędną, aby zostać w oczach waszych warchołem, dynamiciarzem! Jeszcze przed pół rokiem, komu się nie podobała „Lyssistrata“ pana Koźmiana, to chociażby był jezuitą, dostawał od was nauczki moralne i za „demagoga“ był ogłaszany. A toż trudno sobie wyobrazić, ażeby się znajdował drugi taki obóz, którego przywódzcy byliby tak jak wy zakochani w samych sobie, tak pełni wyłączności, bezwzględności wobec cudzego zdania. Wszystko, coście powiedzieli lub napisali, miało być ewangelią, a kto jeden wiersz tej ewangelii zakwestyonował, tego nietylko wyklinaliście, ale i prześladowaliście, jeżeli to od was zależało. Natomiast każdy człowiek przewrotny, pozbawiony wszelkich zasad, zyskiwał wasze poparcie, jeżeli tylko waszą piosnkę śpiewał. „Porządnymi ludźmi“ byliście tylko wy i wasi lokaje, co za miskę soczewicy sprzedawali pierworodztwo własnych zasad.

Zkąd więc ten zwrot nagły, to wyciąganie ręki do wczorajszych warchołów, demagogów, w których wmawialiście idee przewrotu, rozstroju, nieprzerwalności powstania itd. Oto strach powstał przed Stojałowskim, Wysłouchem, Lewakowskim, Lewakowiczem, strach przed radykałami i ludowcami. Wobec nich gotowi stańczycy przemazać winy tych wszystkich, których o zbrodnię przez dwadzieścia i kilka lat z rzędu pomawiali. Dajcie nam pomoc, bo sami nic poradzimy — oto sens tych czułych słówek do „porządnych ludzi“. I wychodzi to szydło z worka zaraz w dalszych słowach hr. Tarnowskiego. To nowe stronnictwo „porządnych ludzi“ nie byłoby wprawdzie stronnictwem politycznem, „ale gdyby ci różni powołaniem, stanowiskiem, nawet opinią ludzie zgodnie i jednako *potępiali i odpychali to, co przewrotne,* (czytaj: radykalizm) to osiągnęliby tym sposobem i polityczne skutki“. O to więc idzie, aby *odpychali i potępiali*, a pan hrabia za to pozwoli im się przez pewien czas nazywać „porządnymi ludźmi“. A kiedy już odepchną i potępią, kiedy porządny murzyn rzecz swoją spełni, powie im się: Dobranoc, panie Rabagas!

Nie tędy droga, panowie. Prawdę powiedział „Przegląd“, żeście „zamiast używać sił do pracy około dobra społeczeństwa,

tracili je niepotrzebnie na kłótnie o polityczne programy, poglądy i hasła" — a ja dodam jeszcze i osobistości. Przybieraliście wciąż pozę zbawców ojczyzny, deklamowaliście, pisaliście, kłóciliście się — szło wam tylko o to, aby na swojem postawić. Oblewaliście młodzież zimną wodą, — chcieliście z niej zrobić fonografy, wygłaszające wasze zdania. Prześladowaliście i prześladujecie nawet każde dziecińsiwo, na które ojcowskiem okiem tylko patrzeć należało, czego dowodem ośmieszający was proces tornopolski i wołające o pomstę do Boga rozporządzenie ministra Madejskiego, wydalające ze wszystkich szkół u w o l n i o n ą p r z e z s ą d młodzież, za to tylko, że po dziecinnemu ojczyznę kochała. A kiedy wyście się bawili w zbawców ojczyzny, kiedy otaczaliście swe pałace strażą pożarną w obawie przed ogniem, którego nikt podkładać nie myślał, — tymczasem pożar szerzył się po wsiach i w domach robotniczych, a wyście na niego uwagi nawet nie zwracali. Dopiero kiedy łuna wam zaświeciła i zbliżyła się do pałaców waszych, wołacie o pomoc do sąsiadów, do tych sąsiadów, przed którymi zamykaliście wrota wasze i na których spuszczaliście psów z łańcucha, kiedy koło okien waszych przechodzili. Wyście wciąż lali wodę, gdzie ognia nie było, budowaliście teorye i teoryjki, a tentnu budzącego się życia nie przysłuchiwaliście się. Całe półtora roku straciliście na reklamie dla „Rzeczy" p. Koźmiana — istne dzieci, którym nowa zabawka się podobała — zastanawialiście się, co robić z Polską, jak ją według waszej formułki urządzić, — choć ta Polska od waszej woli nie zależy i dalibóg, że o poradę do Koźmiana chodzić nie będzie, — a tymczasem inni szli między lud i zgotowali wam miłą niespodziankę.

Nie, nie w taki sposób most do zgody budować należy. Kto pierwszy podaje rękę do zgody a niezgodę wciąż uprawiał, ten musi przyznać się do popełnionych błędów i dać gwarancyę, że zgody chce rzeczywiście. Obie strony muszą uznać, że zawiniły, obie muszą (powtarzam znów słowa Przeglądu) powiedzieć sobie: „Traciliśmy czas niepotrzebnie na kłótnie, dzieliliśmy się niepotrzebnie na stronnictwa, zamiast używać sił do pracy około dobra społeczeństwa". Zaprawdę, dość mamy politykowania — trzeba raz zogniskować wszystkie dodatnie siły do podnoszenia się ekonomicznie i narodowo. „Pracy, pracy i jeszcze raz pracy!" wołał w swej mowie kandydackiej nowy prezes krakowski dr. Henryk Jordan, i to hasło, a nie walka o teoryjki, powinno być wypisane na sztandarze wszystkich stronnictw, miłujących więcej ojczyznę i dobro powszechne, niż swoje koterje i swoich ludzi.

K. Bartoszewicz.



Przegląd prasy polskiej.

Jeden z tych nielicznych księży górnoszlązkich, którzy mimo wiatru, wiejącego z góry, nie chcą przykładać ręki do dzieła germanizacyi, zamieszcza w bytomskim „K a t o l i k u (Nr. 136) taką przestrogę pod adresem swoich konfratrów germanizatorów:

„Czyście już sobie przedstawili skutki tej walki z gazetami i z ludem po ich stronie stojącym? Zakazujecie ludowi czytać „Katolika" — a podawacie mu „Kuryera Górnoszl.". Cóż przez to zyskacie? Lud jest przywiązany do „Katolika", bo widzi w nim dzielnego swego obrońcę już od przeszło 25 lat. Przedewszystkiem robotnicy tak hut jak kopalń trzymają się oburącz „Katolika", gdyż dobrze wiedzą, iż „Katolik" ich zorganizował i jest im najlepszym doradzcą. Nie masz pisma na G. Szlązku, któreby tak gruntownie znało i tak dokładnie i jasno traktowało sprawę robotniczą na fundamencie chrześciańskim, jak właśnie „Katolik". Teraz wy chcecie zatrząść filarami powagi „Katolika", wmawiając w lud, że to gazeta zła, której trzeba odebrać błogosławieństwo Ojca św.? Panowie, czyż nie widzicie, że pod gruzami powagi „Katolika" i wy pogrzebani zostaniecie?.... Gdyby powaga „Katolika" runęła — czyż zdołacie na jego gruzach inną powagę postawić? Zaiste, że nie, bo jeżeli wmówicie w lud, że „Katolik", jego 25-letni obrońca jest zdrajcą, to lud mniemając, że został zawiedzionym, nie tak łatwo obdarzy inną gazetę swojem zaufaniem.

Nie łudźcie się nadzieją, że lud będzie „Kuryera" czytał lub inną gazetę jemu podobną. „Katolik podaje ludowi wino, wy odstręczacie lud od „Katolika"; „Kuryer", wyjąwszy spraw religijnych, podawał dotąd ludowi wodę i wy namawiacie lud do „Kuryera"? Czyż myślicie na prawdę, że lud zasmakowawszy wino, będzie na wasze życzenie wodę pił? Nie, jeżeli go gwałcić będziecie, porzuci i wino i wodę, a będzie szukał gorzałki, aby się nią upoić w nieszczęściu. Że zaś tę gorzałkę już palą dla ludu, o tem przedewszystkiem muszą wiedzieć przewodnicy w obwodzie górniczo-hutniczym. Źle się więc bawicie, Panowie, na waszych zgromadzeniach; walka z gazetami i z ludem nie jest igraszką; tu chodzi nietylko o zdrowe życie ludu, ale i o naszą powagę. „Katolik" jest w istocie najlepszym przyjacielem i obrońcą ludu; zachwiać jego powagę znaczy i lud i duchowieństwo wystawić na wielkie niebezpieczeństwa.

* * *

Pod tytułem „Sprawa zepsuta" zamieszcza „O r ę d o w n i k" (Nr. 265) szereg ciekawych uwag, dotyczących prywatnej nauki języka polskiego. Z artykułu tego cytujemy ustęp następujący:

„Sprawozdanie Komitetu bydgoskiego, tyczące prywatnej nauki polskiej, przypomniało naszemu społeczeństwu smutną sprawę nauki języka ojczystego. W Bydgoszczy nauka ta ustała, choć pozostało w kasie komitetu około 540 m. Komitet rozporządził funduszem tym tak, że przeznaczył dla gimnazyum polskiego w Cieszynie 150 marek, resztę przeznaczył na upiększenie wielkiego ołtarza w kościele farnym, a dla nauki polskiej nie zachował — ani grosza.

Szkoda, że nie odłączono chociaż małej sumy choćby na Elementarze polskie dla biednej dziatwy polskiej a tej nie brak w Bydgoszczy i prędzej czy później trzeba będzie na ten cel jakiś fundusik obmyślić....

Cała sprawa nauki polskiego czytania i pisania to dziś — sprawa zepsuta.

Po usunięciu nauki języka polskiego ze szkół, skazani na samych siebie, musieliśmy się oprzeć na samopomocy, tj. sami, o własnych siłach jak się gdzie dało, nakłaniać dzieci do nauki i uczyć je...

Nie twierdzimy i nie twierdziliśmy nigdy, żeby tak praktykowana samopomoc mogła zastąpić w znaczniejszej mierze uregulowaną naukę szkolną. Atoli faktem jest, że czego się dzieci w pierwszych latach po usunięciu nauki polskiej z szkół nauczyły, tego nauczyły się na podstawie samopomocy.

Zawiał nowy wiatr, napędził całe mgławice złudzeń i obi tnic i zwiał nam tę samopomoc.

Dano nam uregulowaną naukę polską w lokalach szkolnych za nasze pieniądze; potem odebrano to, naukę polską wciągnięto do programu szkolnego, ale tylko w tych szkołach, gdzie rząd zezwala na polską naukę religii w klasach średnich i wyższych, a takich szkół nie wiele.

Dziś więc jest taki stan, że od samopomocy odwykliśmy, za pieniądze nie wolno nam starać się o naukę polską dla dzieci, a to, co rząd pruski jeszcze w szkole daje — z łaski — to bardzo maluczko i tysiące dzieci polskich pozostaje bez wszel-

---

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.

(C i ą g d a l s z y).

Pan Antoni na razie nie wiedział, czy prośbę redaktora uważać za chęć wyzyskania zawartej przy butelce znajomości, czy też cieszyć się z położonego w nim zaufania tak wybitnej osobistości, jak korespondent „Trąby Tarnopolskiej". Chcąc pogodzić jedno z drugiem, serdecznie podziękował redaktorowi za nastręczoną mu sposobność okazania swojej życzliwości dla przedstawicieli postępowego dziennikarstwa, żałując tylko, że niesumienność lokatorów nieuiszczających czynszów stawia go w tem niemiłem położeniu, że tylko dwudziestoma złr. służyć może. Redaktor uwzględnił to położenie, włożył dwie dziesiątki do kieszonki od kamizelki i pożegnał kandydata, zapewniwszy go o moralnem odwzajemnieniu się.

Taż sama historya powtórzyła się za pół godziny z „jenerałem", a za godzinę z „mecenasem". I jednemu i drugiemu nie dopisały chwilowo „okoliczności", obaj też z powodu niesumienności lokatorów w części tylko zadowolili swą „wyjątkową potrzebę". Jeden tylko „dyrektor" nie zjawił się z tego jedynie powodu, że już od rana walczył „pod Fujarą" za postęp i wznosił zdrowie drugiego kandydata, dra Kauzyperdy.

Ulokowawszy w ten sposób część gotówki, zamyślał pan Antoni przejść się po mieście, gdy tymczasem wpadł pan Filip, zapowiadając wizytę pana Jonasza Chabgelda, człowieka niezmiernego wpływu między obywatelami izraelskimi, a którego według zdania pana Filipa koniecznie dla sprawy pozyskać należało.

Pan Jonasz Chabgeld ukazał się niebawem. Długa czarna kapota, gdzieniegdzie wytarta i pozaszywana, ruda broda rozrzucona w nieładzie, potężna narośl na prawym policzku, ręce długie, delikatne, zaniedbane nieco pod względem czystości, wreszcie poważnie wijące się w artystycznym układzie pejsy — wszystko to wzbudziło dla niego sympatyę i zaufanie. Posadzony na kanapie i poczęstowany cygarem, zapytał, jaki interes ma do niego pan Antoni. Zawiązała się tedy następująca rozmowa:

— Słyszałem, panie Chabgeld — rozpoczął pan Filip — że pan cieszysz się zaufaniem u swoich współwyznawców na Kazimierzu?

— Ver vues ništ? Dlaczegie nie? U nas kto jest kepełe i ma pieniądzów, to wszystko ma.

— Otóż pragnęlibyśmy pomocy pańskiej — mówił dalej pan Filip — bo uważa pan, pan Gandziarowski chciałby zostać wybranym do Rady miejskiej.

Cziemu nie? Ihr sent doch an Oischer, pan jest taki bogacz, kamienicznik. Kto ma być radnym, jak nie takie godne osobe?

— No, tak, ale uważasz pan, panie Chabgeld, — rzekł pan Antoni — mnie nie każdy zna, zwłaszcza mało mam znajomych między pańskimi współwyznawcami.

— To sze wie. Ja panu co powiem: Pan Salzstangel zrobiał panu dobre rekomendacye. Co tu gadacz: pan radcem będzie. Ale pan wi, co teraz szwiat taki zły, co i honorowe osobe nic nie zrobi bez Rebuche. To takie paskidne czasy.

— My to dobrze rozumiemy — przerwał pan Filip — i dla tego chcielibyśmy wprost wiedzieć, co to może kosztować?

— Ny, proszę panów, to jak do osobe. Ten pan Czasownicki, co temu trzy laty został radcem, dał małe bagatele: 1200 ranesz. Ale to buło auf majne munes, bardzo tanio. Co ja sobie nie nalatał, co ja sze ne narobiał, a wa! Ale z psieprosieniem pańskim, czy pan dobrodżij stańczik?

— Nie, panie Chabgeld.

— U, to źle, to bardzo źle. Co to panu szkodży, dus ist alles eins, jeden djabeł. A żidki widżi pan wolają stańczików jak panów liberałów. Uni sobie mówiom tak: teraz stańcziki górom i my wiemy jak jest

kiej nauki, a jeżeli nie to, to w każdym razie bez opieki szkolnej.

Nie pozostaje nic innego jak nawrócić do samopomocy. Toczyły się o nie długie, a nawet gwałtowne spory z tymi politykami, którzy nam obiecywali ciągle malowane jajka na ową historyczną „Wielkanoc“. Wszystko poszło z wiatrem i dziś nawet plewy z tego nie ma, o któraby się można po gazetach spierać.

Ale to też nauka dla społeczeństwa, dla ludu polskiego, żeby się nie dał niczem durzyć i żeby w podobnych przypadkach tylko — na Bogu i na sobie samym polegał.

Trzeba nawrócić do pierwszej samopomocy.“

* * *

Z powodu zamierzonego rozciągnięcia ogólnej ustawy o samorządzie miejskim z r. 1892 do miast w Królestwie Polskiem, „Słowo“ pisze co następuje:

Od chwili ukazania się tej ustawy nie wątpiliśmy, że z czasem zacznie obowiązywać i w kraju naszym. Leżało to niewątpliwie w zamiarach prawodawcy. Nieznanym był jedynie termin, w którym zamiar ten miał wejść w życie. Dobroczynny wpływ, jaki nowa ustawa miejska wywarła na rozwój miast w Cesarstwie, usprawiedliwiałby aż nadto pociągnięcie Królestwa pod jej moc obowiązującą. Skutki jej mogą się tu okazać tem pomyślniejszemi, iż żywioły, powołane do współudziału w zarządzie, będą mogły korzystać z doświadczeń, poczynionych już gdzieindziej. Obowiązki, jakie, po zrównaniu w tej mierze kraju naszego z guberniami Cesarstwa, spadną na społeczeństwo, nie będą lekkie. Jeżeli mimo to sądzimy, iż sfery obywatelskie, powołane do pracy, podołać im potrafią, to opieramy zapatrywanie nasze na przypuszczeniu, że wzorem dla miast prowincjonalnych byłby w takim razie zarząd miasta Warszawy. Zreformowane władze miejskie zostałyby w Warszawie, dzięki wzorowemu zarządowi obecnemu, wdzięcznem do dalszej pracy polem i mogłyby nietylko własnemu przysłużyć się miastu, lecz także służyć za przykład mniejszym i uboższym gminom. Zadanie tych władz przyszłych byłoby ciężkiem i pełnem odpowiedzialności. Obraz świetnej gospodarki, jaki dzisiejsza Warszawa przdstawia, zawdzięczając ją długoletnim rządom poprzedniego prezydenta swego, czcigodnego jenerała Sokratesa Starynkiewicza, włoży na nie tem większy obowiązek. Miasto, którego budżet, według projektu na rok przyszły, wynosi rs. 4,499,506 przedstawia ogrom spraw i interesów, wymagających znacznego zasobu wiedzy i szczerego oddania się sprawom publicznym. Tu jednak właśnie oddziaływać powinien zachęcająco przykład miast w Cesarstwie, które, po uzyskaniu ustawy nowej, znalazły znaczniejsze, niż dawniej, fundusze na cele publiczne i gorliwiej niż poprzednio, mogły zająć się szerzeniem oświaty, spełniając objawioną kilkakrotnie wolę Najwyższą. Tą koleją powinny pójść sprawy w mieście naszem. Życie odkrywa przed nami i odkrywać będzie coraz nowe potrzeby. Obok wydatków na oświatę ludu, na zdrowie mieszkańców i na cele dobroczynne, wypadnie myśleć o zaspokojeniu mnóstwa innych potrzeb. Tak ważna dla całego państwa i dla kraju naszego sprawa zaprowiantowania miasta, jako pierwszorzędnej twierdzy, niepoślednie między temi kwestjami zajmie miejsce. A doświadczenia wszystkich krajów mówią przekonywająco, że właśnie ta sprawa najpomyślniej załatwioną bywa przy systemie, opartym na uczestnictwie czynników, najsilniej zainteresowanych, na uczestnictwie tych, o których wyżywienie idzie. Tak się w zarysie ogólnym przedstawia kwestja zastósowania u nas praw, których błogie następstwa odbijają się już dzisiaj na życiu miejskiem w guberniach Cesarstwa.

* * *

O złożeniu mandatu poselskiego przez Dr. K. Lewakowskiego takie wypowiada opinje lwowski „Monitor“ w Nr. 33:

Nie należeliśmy nigdy do bałwochwalczych i bezwzględnych czcicieli dra. Lewakowskiego, wiedzieliśmy, że ma błędy i wady, że brak mu energii należytej, że przeoczył i zaniedbał niejednej sposobności, gdzie właśnie wystąpić należało, — ale w tych czasach ogólnego rozpanoszenia się służalstwa i lokajstwa, sybarytyzmu i nepotyzmu, ceniliśmy dra. Lewakowskiego jako człowieka, który nie oglądał się w prawo i w lewo, który gdy chciał, otwarcie wypowiadał wolę swoich wyborców. Ceniliśmy go z tego względu, iż był może jedynym człowiekiem w Kole polskiem, do którego można się było udawać ze sprawami niemiłemi naszej „hierarchii społecznej“, iż był jedynym człowiekiem w Kole polskiem, który miał odwagę oświadczyć się za powszechnem, bezpośredniem, tajnem prawem głosowania.

Prawdopodobnie nie rozważył dr. Karol Lewakowski następstw złożenia mandatu. Dr. Lewakowski zapomniał snać zupełnie, że składając swój mandat, wydaje go na pastwę wsteczników, lub zakapturzonych „przełamańców“, których pozycya w stolicy kraju wzmogła się ogromnie, a uratować ten mandat by się nie dostał w niepowołane ręce — dziś zdaniem naszem natrafi na ogromne trudności.

Powody, które go skłoniły do tego kroku, — łatwe do odgadnięcia. Ataki płatnych pismaków i jurgieltników klik przeróżnych, którzy napaści swoje od dłuższego czasu prowadziły w obrzydliwy, potępienia godny sposób, w sposób jakiego nawet płatna, żydowsko-liberalna, zgangrenowana do szpiku i kości prasa wiedeńska nie używa przeciw znienawidzonemu przez się dr. Luegerewi. Jurgieltnicy ci wyciągnęli cały swój arsynał i w pismach codziennych i humorystycznych usiłowali ośmieszyć dr. Lewakowskiego, Wyciągnięto nawet prywatne rozmowy Lewakowskiego i z nich kuto broń przeciw niemu.*)

— ski.

*) Lewakowski na prośby wyborców cofnął ostatecznie zrzeczenie swoje.



BADANIA NAUKOWE.

Spekulacye filozoficzne.

Trudno wyrzec ostatnie słowo o charakterze filozofii współczesnej, nie zdołała ona bowiem dotąd przyoblec się w jednolitą szatę systematu, pozwalającego objąć jej całokształt, pomimo to tendencye jej są na tyle przejrzyste, że nie utrudniają bynajmniej poznania kierunku, w którym dąży.

Nie mam też zamiaru dawać tu jej zarysu i ograniczam się tylko na szkicowem nakreśleniu poglądów, wypowiedzianych w tej mierze z okazyi zjazdu przyrodników i lekarzy niemieckich w Lubece.

Słyszał czytelnik co o Neowitaliźmie? Nie wiem, kto pierwszy wprowadził słowo to do słownika terminologicznego, ale to pewna, że prof. Rindfleisch oznacza niem tę ideę filozoficzną, którą sam rozwijać się stara. Dowiadujemy się więc od niego, że zadaniem Neowitalizmu jest określenie stosunku, jaki zachodzi pomiędzy siłą a materyą.

Dwie są drogi, prowadzące do poznania i wytłomaczenia istoty zjawisk przyrody. W pierwszej — materya stanowi punkt wyjścia dla badań; druga — odrzuca zupełnie materyę, poprzestając na siłach naturalnych. Obie drogi pono nie doprowadziły dotąd do celu, nie dowiedzieliśmy się bowiem nic wieeej nad to, że siła z materyą tworzą pojęcie całości, nie dającej się rozdzielić w żaden sposób, że jednej bez drugiej wyobrazić sobie nie można.

Co by jednak było, gdybyśmy badać zaczęli oba te pojęcia, nie rozdzielając ich, a przyjmując siłę, jako ruch materyi, który ona sama z siebie wywiązywać jest w stanie? Przedewszystkiem całokształt naszego światopoglądu zyskałby olbrzymie uproszczenie, wynikające z różnych kombinacyj jednego tylko elementu, potem łatwiejby nam może było zrozumieć zasadę świata organicznego, nazywaną życiem. Gdyby się udało wszystkie zjawiska natury, nie wyłączając

---

a jak nastąpią liberałów, to może bycz eine bittere Zeit i kiepski rachunek.

— No, ale przecież można usunąć te skrupuły?

— Dlaciegie nie? Ale ja panom co powiem: dla mnie to delikatne sprawe. Mnie już wszisey znają, co ja stańczik. Mnie i pan staroste lubi, i ten wisoki professor lubi, a ten taki gruby pan hofrat to mi raz mówiał: słuchaj ty panie Chabgeld, ty jestesz barzo porządni obiwatel. I ja tyż sobie miszlę co dla mnie to jest ka geszeft panów stańczików na szebie gniewacz. Nie, ja tegie interessu na szebie bracz nie moge, — boby był a finsterer Sof, zły koniec. Ale ja panu poszle mojego kolege Landau, to on to panu może zrobicz. On nima takie sprytnie głowe jak ja, on jest a grojser Beheimer — ale co robicz? Ja pana barzo szanuje i chce panu wigodzicz.

Widząc, że trudno będzie w trzech dojść do końca z panem Chabgeldem, wziął go pan Filip na stronę i po półgodzinnej rozmowie zdołał przekonać go o wyższości zasad postępowych i usunąć wszelkie skrupuły zacnego obywatela.

V.

Do tomowych rozmiarów urosłoby nasze opowiadanie, gdybyśmy chcieli prowadzić dokładną kronikę zabiegów pana Antoniego o krzesło radzieckie. Zanotować tylko wypada, iż niczego nie zaniedbano, aby uszczęśliwić miasto, kraj i społeczeństwo wyborem pana Antoniego. Część pracy, nie lwia wprawdzie, ale znaczna, przypadła i pani Antoniowej. Co tę kobietę cichą, spokojną, zamiłowaną w „porządkach domowych“, w maszczeniu chleba głodnym pociechom i przyprowadzaniu do ładu ich toalety, spowodowało do rzucenia się w wir walki wyborczej, — trudno doprawdy pojąć. Było w tem zapewne dużo ślepej uległości dla męża, miłości dzieci, bo stanowisko ojca i ich o jeden szczebel wyżej posunęłoby w hierarchii społecznej, a może wreszcie była i odrobina miłości własnej. Każdy człowiek na świecie ma swą ambicyjkę, dla czegożby ona jej mieć nie miała? Panie z drugiego piętra nazywano „doktorową“ i „profesorową“, na pierwszem piętrze mieszkała obok gospodarstwa „dyrektorowa“, wyglądając z okna pani Antoniowa widziała vis à vis „mecenasową“ i „prezesową“, pani „prokuratorowej“ dała raz przepis na pączki, obok pani „sędzinej“ siadywała w kościele na kazaniu O. Jacka, śmiała się szczerze z niepomiernej turniury pani „adjunktowej“, a nawet na trzeciem piętrze mieszkającą w małej izdebce lokatorkę nazywano „marszałkową“, bo nieboszczyk jej mąż był t. zw. „marszałkiem“ w resursie, czyli po prostu starszym lokajem. Ona zaś tylko przez swoich lokatorów znaną była jako pani „gospodyni“, a po za kamienicą była panią Gandziarowską i niczem więcej tylko panią Gandziarowską. „Pani radczyni Gandziarowska“, to rzecz inna, to już pewna powaga, pewne znaczenie; „całuję rączki pani radczyni dobrodziejki“, mówiłby pan profesor, „jakże zdrowie pani radczyni?“ pytałby sam dyrektor. To ma urok nawet dla bardzo rozumnych kobiet, cóż dziwnego, że miało dla Bogu ducha winnej pani Antoniowej.

Cokolwiekbądź zresztą skłoniło panią Antoniową do agitacyi za wyborem męża, fakt sam został faktem: agitowała jak umiała w domu, w mieście, pomiędzy przyjaciółkami i znajomemi. Obiad się spóźniał, pieczeń była przypaloną, Loluś i Klimcia chodzili zamorusani, kurz leżał po tygodniu na stołach i komodach, szkło od lampy było zakopcone, piasku w piasecznikach zabrakło, „niegrzeczności“ małego Henryczka spoczywały na podłodze, — a pani agitowała! Zmieniła szewcową, modniarkę, krawcową, i poszła do innych, które były w posiadaniu mężów mających prawo głosu. Słowem nic nie zaniedbała niczego, co kochającej męża żonie w tak ważnej chwili życia czynić należało.

Przyszło raz nawet do awantury. Dowiedziała się, że krupiarka Jęczmionkowska ma dwóch braci głosujących w tem kole w którem miał kandydować jej Antoś. Poszła więc do niej raz, drugi i trzeci, to po mąkę, to po krupy, to po żywność dla ptaków, — i nareszcie znalazłszy dogodną porę, dalejże w dyskurs polityczny. Kiedy po wyłuszczeniu

życiowych, sprowadzić do ruchu atomów, nie potrzebowaliśmy tłomaczenia tego odrzucać, choćby nawet zawierać miało jakie punkty ciemniejsze. Prof. Rindfleisch sądzi, że mylnem jest zapatrywanie, jakoby zjawiska życia polegały na innem ugrupowaniu atomów, niż zjawiska świata nieorganicznego, a za dowód przytacza rozwój bezbarwnej komórki krwi, powstającej z protoplazmy. Czem jednak jest właściwe życie dowiemy się nie prędzej, aż nam kto nie powie, co to jest atom. Wszystkie ruchy obdarzonych życiem indywidyów mają charakter wspólny, wynikający z funkcyi nierozdzielnego związku materyi z siłą. Okoliczność ta jest przyczyną procesu myślenia i całego wogóle duchowego naszego życia. Temu podobnież przypisać należy świadomość człowieka i przekonanie o swej wyższości nad innymi tworami natury. Tem wreszcie tłómaczyć się winna dążność przyrody, mająca na celu doskonalenie się istot żyjących. Poszczególna komórka każdego organizmu żyje tylko dla pożytku wszystkich innych komórek, mając na względzie swoje własne dobro. O właściwej porze zaczyna ona dzieło różniczkowania i rozwija się dalej, tworząc coraz bardziej skomplikowaną całość, która podziw w nas budzić musi. Pod egidą jedności i solidarności komórek przystosowywują się organizmy do nowych warunków i tym sposobem nabierają dzielności do walki o byt. Zasada miłości bliźniego, hasło: „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego!“, — wrodzona jest istotom żyjącym, ponieważ stosunek wewnętrzny elementów, z których się składają, jest jednocześnie pierwszym warunkiem ich egzystencyi. Najwyższa wolność nie osiągnie się wbrew prawom natury, ale przy ich pomocy!

Taka jest mniejwięcej treść poglądów, które prof. Rindfleisch wyraził w swoim zjazdowym referacie. Nie brak tu ogólników i frazesów, natomiast brak motywów i przykładów. Być może, że pochodzi to ztąd, iż krótki czas, wyznaczony przez uczestników zjazdu, na poszczególne odczyty, nie dozwolił referentom dostatecznie rozwinąć tematów. Sądzę też, że autor nie wywiązał się jeszcze ze swego zadania, gdyż z tego, co powiedział dotąd, nie daje ogółowi sposobności zaznajomić się dokładnie z zasadami Neowitalizmu.

Tej samej kwestyi, z innego wszakże wychodząc założenia, dotyka prof. Oswald z Lipska.

Jest on przedewszystkiem przeciwnikiem naukowego materyalizmu i o atomie, jako pojęciu specyalnem nic wiedzieć nie chce. Dotychczasowy mechaniczny światopogląd, zdaniem jego, nie wytrzymuje krytyki, ponieważ nie daje się sprowadzić do ruchu atomów i tym sposobem wyrazić za pomocą formuł mechanicznych. Niektórzy uczeni, a między nimi Helmholtz, twierdzili, że różne formy przejawiającej się we wszechświecie energii są energią mechaniczną. Zapatrywanie to uwydatnił właściwie Robert Meyer, zalecając przyjąć energią, jako zasadę syntezy filozoficznej, w miejsce dotychczasowej materyi i siły, a kierunek ten nazwał energetycznym.

Aparat nasz zmysłowy reaguje tylko na różnice energii, zachodzące pomiędzy nim, a jego otoczeniem, dla tego np. w świecie, któregoby temperatura równała się temperaturze naszych własnych organizmów, nie bylibyśmy w żaden sposób w stanie rozróżnić zjawiska ciepła. Ponieważ tedy wszystkie wrażenia, jakie otrzymujemy z zewnątrz, nie są niczem innem, jak tylko pewnemi, określonemi stosunkami energii, przeto pojęcie materyi, jako takiej, jest zupełnie zbyteczne. Materya jest rzeczą czysto urojoną, którą skonstruowaliśmy sami w tym celu, aby to, co wieczne i trwałe wyrazić w przemianie zjawisk.

Właściwości realnej rzeczywistości należy przypisać funkcyom energii, gdyż przy pomocy tego jednego pojęcia można sobie już wytłómaczyć wspólność istoty wszystkich przejawów natury. — To, co dzisiaj nazywamy masą, to, co wypełnia przestrzeń jest tylko energią objętości, — siła grawitacyi ogólnej energią położenia, własności chemiczne energią chemiczną i t. d. Zasady tej nie są wstanie naruszyć sprzeczności mechanicznego światopoglądu. Pomimo to są punkty, których zasadnicze twierdzenia energetyki rozjaśnić nie są wstanie.

Bliższe szczegóły, tyczące się powyższego kierunku, znajdzie czytelnik w pracy Helma, do której go też odsyłam.*)

Heidelberski chemik, Wiktor Meyer, stając w obronie materyalizmu, mniema, że w niedalekiej przyszłości uda się dotrzeć do najciemniejszego zakątka teoryi atomistycznej i poznać właściwą materyę pierwotną. Przekonanie swe opiera on wyłącznie na wyniku dotychczasowych badań nad ciałami fizycznemi.

Uważane dotad za najprostsze formy materyi pierwotnej elementy chemiczne, których liczba wynosi 70, nie zawsze uważane były za takie przez niektórych uczonych.

Już w początku bieżącego stulecia sądził Prout, że jeden tylko wodór jest pierwiastkiem w właściwem znaczeniu tego słowa, reszta zaś przedstawia kombinacye różnego układu jego atomów. Jeżeli hipoteza Prouta nie mogła znaleźć dotąd dostatecznego potwierdzenia, to przecież nowsze badania, prowadzone nad własnościami ciał chemicznych, zdają się przemawiać zatem, że dzisiejsze elem nty są stanowczo ciałami złożonemi.

Nie będę przytaczał całego szeregu doświadczeń, zarządzanych w tym celu, powiem tylko krótko, że okazuje się niezbędna potrzeba poddania skrupulatnej analizie pierwiastków metodą nową, przy pomocy pyrochemii. Metoda ta polega na określeniu gęstości pary elementów w temperaturze niepraktykowanej dotąd, bo wynoszącej 3000°, co wydaje się zupełnie możliwem przez użycie naczyń z *aliazu iridium* i platyny, mogących bardzo dobrze wytrzymać tak wysoką temperaturę.

Meyer sądzi, że tym sposobem osiągniemy rozkład cząsteczki na jej atomy, o których wreszcie coś stanowczego powiedzieć będziemy mogli. Rezultat taki zapewniałby teoryi atomistycznej walne zwycięstwo i trwały byt.

F. S.



*) Helm, Ueberblick über den derzeitigen Zustand der Energetik. — Wiedermann'sche Annalen, Bd. 55, Beilage zum Juniheft 1895.

cnót publicznych i domowych swego męża, widziała się blisko wygranej, krupiarka spokojnie odrzekła:

— Nic z tego, proszę pani dobrodziejki, bo moi bracia wedle głosowania są za szewcem Przyszczypkowskim.

— Za Przyszczypkowskim? co też pani mówisz? Toć to człowiek głupi, bez edukacyi, pijaczyna...

— Tylko niech pani nie wydziwia — rzekła obrażona krupiarka — lepszy dobry szewc, jak ten, co nic nie robi i z ludzi żyje!

— Co? — zawołała pani Antoniowa — jak ty śmiesz tak o moim mężu się odzywać?

— Tylko mnie nie tykać! — wrzasła jeszcze silniej Jęczmionkowska. — Widzicie, nigdy tu nie chodziła, nie kupowała, a jak ma interes, to przychodzi. Obejdzie się wesele bez marcepana. Niedoczekanie twoje, żebyś była radczynią!

Tego już pani Antoniowej było za wiele. Spokojna obywatelka zamieniła się w furyę. Nastąpiła szermierka językowa tak dosadna, że ją znowu odstępujemy realistycznym pisarzom. Dodajmy tylko, że nie obeszło się bez charakterystycznego gestu, będącego ostatnim a silnym argumentem, którym krupiarki i pokrewne im zawodem niewiasty posługiwać się lubią. Wszystko to odbyło się szybko, ale znowu nie tak bardzo szybko, aby sąsiadki i przyjaciółki pani Jęczmionkowskiej, zwabione krzykiem, nie miały czasu wziąć udziału „w walce o zasady“. Jak się okazało, wszystkie one należały do stronnictwa „Czasu“, gdyż wszystkie „jak jeden mąż“ stanęły w obronie Przyszczypkowskiego, kandydata obozu stańczykowskiego, za którego też wyborem pisali do „narodu“ odezwy najpoważniejsi mężowie stronnictwa.

I już daleko była pani Antoniowa, a jeszcze ją dolatywały głosy oburzenia, kwalifikujące się do wniesienia skargi o obrazę honoru.

Niemniej jak ona całą tą awanturą był przerażony dostojny jej mąż — kandydat. Czuł, że się stało głupstwo, bo armią z placu Szczepańskiego zaczepiać niebezpiecznie. O ileż przerażenie jego byłoby większe, gdyby już wówczas wiedział, że pani Barbara z Jęczmionkowskich, I-mo vo Kulasińska, siostra stryjeczna obu braci-wyborców i niegrzecznej krupiarki, weszła w powtórne związki z Józefem Cholewą, którego znów siostra rodzona oddała serce, rękę i 2000 złr. kontrkandydatowi Przyszczypkowskiemu. To już nie awantura z krupiarką, ale z całą „familią“, a już dzieje wykazały nam, co „familia“ może i znaczy!!...

(Dokończenie nastąpi).



LITERATURA I SZTUKA.

Sylwetki poetów czeskich.

V.

Proza czeska. — „Santa Lucia“.

Nie popełnię błędu utrzymując, że jeśli poezya czeska korytem płynie względnie szerokiem, powieść i nowella wąskiemi ledwie strużkami szemrzą po łanach piśmiennictwa. Wprawdzie strumyków nowelistycznych dość spora pomyka liczba, zawierając w nurtach swych wijące się kwestye doby ostatniej: smutek dusz, nędzę robotników płci obojga, walkę o byt, wyzysk złotodzierców, bój z żywiołem niemieckim, walkę inteligencyi z ciemnotą, biedę kształcących się wieśniaków, zwłaszcza morawskich itd. — wprawdzie nowelki te nie są pozbawione znaczenia dla mieszkańców nadwełtawskich, a czasem i pod względem pogłębienia i formy, wysuwają się nieco ku przodowi, na szali jednak artystycznej i psychologicznej zbytnio nie mogą zaważyć. Tem mniej mają ku temu prawa powieści obszerniejsze, których ilościowo jest niewiele, jakościowo zaś — według krytyki samych czechów nie sięgają one wyżyn drugorzędnym dostępnych powieściopisarzom.

Prócz piór życzliwiej dla postępu usposobionych spotykamy, — a tych jest więcej — takie, co z rozwojem się liczą za mało. Latami do naszej należą doby, ukształceniem zaś uczuć i widnokręgiem myśli z matkami lub babkami mogłyby iść w zawody. Kilka pism tygodniowych, beletrystycznych nadziewane są stale nowelkami tego pośledniejszego gatunku.

Najudatniejszą czasów ostatnich powieścią jest „*Santa Lucia*“ pióra Wilhelma Mrsztika. Autor maluje w niej młodzieńca Jerzego Jordana, chorobliwie kochającego Pragę, dążącego ku niej myślami, gdy na szkolnej jeszcze siedział ławie, czmychającego do niej poraz pierwszy ukradkiem, bez pozwolenia rodziców, z towarzyszami wielbiącymi ją również namiętnie, by tam — podczas pobytu trzechdniowego rozwulkanić swą krew tak gorąco, że już potem żyć bez stolicy nie może. Praga to raj, zbawienie — to wszystko. O niej myśli i śni. Tam jedyne dlań miejsce do nauki. Tam ludzie muszą być inni, lepsi podług płomiennej wyobraźni.

Jerzy to natura szczera, prosta, uczuciowa, lecz zrażająca się i nieco zacięta. Chłopak to ambitny, samodzielny, nie cierpiący pęt w myśli i czynie, mający wstręt do nauki suchej, sztywnej, do pedantyczności, do wszelkich przepisów i formalistyki. „Oddałeś kartkę od spowiedzi księdzu?“ pytają koledzy. „Po co? wszak widzieliście, że byłem.“ Profesorów ulubieńcem nie był. Wydał im się nadto krnąbrnym i niedbale traktującym przedmiot, a zresztą Jerzy, małomówny, okazujący pewne politowanie dla suchości formy, goniący tylko za myślą, ideą przewodnią, naraża sobie nauczycieli. Gdy np. prof. Koczwara, pyszniący się wiedzą przed uczniami, „któryn opowiadał o wszystkiem, co tylko w zakres wykładu nie wchodziło“ — postawił raz pytanie: „Ja, was heisst eigentlich die Numismatik?“ — Jordan wstał i wypowiedział cały artykuł z encyklopedyi Mayera, źródła wszelkich wiadomości profesorskich. W dniu owym o numizmatyce nie było już mowy. Umysł swobodny Jerzego nie mógł też znieść twierdzenia Koczwary, że „student jest jak żołnierz“. — „Student to student, nic więcej nic mniej i basta“ — mówił Jerzy po skończonej lekcyi do kolegów.

Szkołę pomimo to skończył, i choć z klasy do klasy przechodził „przez piec“ lub „przez dziurkę od klucza“, otrzymał świadectwo wcale chwalebne dzięki obecności inspektora, któremu podobały się swoboda myśli i pewność, z jaką Jordan na stawiane odpowiadał pytania.

Po powrocie z Pragi zesmutniał, stał się więcej milczącym, zdenerwowanym i ucinkowym. W szkole mu to nie pomagało. Myślał on wciąż o Pradze i o tem, że po egzaminie musi zrobić w domu rewolucyę, bo rodzice nie mieli pieniędzy, ani też Praga nie nęciła ich wcale. Przerów podług nich miał więcej widoków praktycznych. — Cicha, skromna, sercem Jerzemu oddana siostrzyczka przyczyniła się do załatwienia sprawy jego wyjazdu. Jerzy rozpogodził oblicze, a jednocześnie uśmiech na wszystkich błysnął twarzach. Z myślą pogodną, z radością naiwnego młodzieńca, z tłumem projektów, jakie zwykli tworzyć o krwi gorącej podlotki, z kaszlem, drażniącym mu nadto często krtań, z gorączką pragnień, trawiącą organizm wątły, Jerzy Jordan wyruszył z początkiem jesieni z Przerowa na Morawie do Pragi. Płaszcz miał dogodny dla przepuszczania wiatru i chłodu jesieni, a kieszeń bardziej notatkami i chustką do nosa, niż potrzebną dla każdego monetą była napełnioną.

W drodze Jerzy zaznajomił się z medykiem Hegrem, który zaprosił go do siebie, ofiarując mu za bezcen wspólne mieszkanie. Hegr, piątokursista, przeszedł jużprzez bicze, chłoszczące każdego nowo w przedsionek świata wstępującego młodzieńca, zna Pragę, rozumiał, co znaczy miasto wielkie jak ono zjada studentów, tembardziej, nie mających dostatecznej pomocy materyalnej, i już w wagonie w barwach czarnych odmalował ukochane marzeń Jordanowych dziecię. W Pradze rozpoczęło się smutne życie. Pieniądze w części użył nie na cel przeznaczony. Trudno było oprzeć się pokusie, musiał pożyć trochę, on niby — już człowiek, — poznać miasto, zwłaszcza, że wykładów jeszcze nie było. A z domu nie przyślą mu pieniędzy, musi wyżyć z kilkunastu guldenów miesięcznie, których ilość skurczyła się przysuwająco. Oszczędza do minimum, szuka pracy, — naprożno! Wróżby Hegra sprawdzają się. Przyjmują go podaniem ręki uprzejmie, obiecują, a gdy powtórnie przyjdzie, witają go już nieco chłodniej lub zupełnie nawet oziębłe. A charakter Jerzego nie pomaga mu wiele. Może pukając ciągle do drzwi, zwłaszcza zaś zamiatając kornie proch przed stopami tych, którzy mogliby mu się wystarać o lekcye, wyskomliłby cokolwiek, —ale on, żądający jedynie szczerości w obiecankach, gdy spotkał filisterstwo, lekceważenie czyjejś pracy i czasu, marnowanego na próżne poszukiwanie zajęcia, a pozbywanie się lisiem słówkiem; „może“, „zobaczymy“, — wre oburzeniem dziecka lub odkrywcy szczęścia dla ludzkości, który utopijne chcąc budować zamki, nie znajduje nakładcy odpowiednio bogatego i fantastycznego. Raz jeno dostał pracę, lecz z zarobku urwano mu parę guldenów. A jednak Jerzy, mimo głodu i chłodu, kocha wciąż Pragę.

Do uniwersytetu uczęszcza prawidłowo, o ile nie stanie na przeszkodzie deszcz, — a raczej buty dziurawe. Do restauracyjek zagląda nie często: cierpi na brak gotówki, który doprowadza go czasem do zupełnego niemal wycieńczenia. Wśród tego biegania za pracą i pustki żołądkowej, Jerzy pełen nienawiści dla pewnych warstw społecznych znajduje dwie osłody: Jedne w naturze

---

GRÓB POETY.

Oto jest grób poety... W nieświęconej ziemi —
I nie pod krzyżem leży... Na płycie grobowej
Nie ma kwiatów... Nikt żadnej nie powiedział mowy.
Wszyscy stali dokoła zmieszani i niemi
I odeszli czem prędzej, gdy grób zasypano —
Został sam w ziemi z czarną, spiekłą w piersiach raną.

Jak cicho teraz leży i w jakim spokoju
Ten, co wprzódy nie zaznał nic, prócz trosk i znoju,
Prócz upokorzeń, wzgardy dla samego siebie,
Gdy musiał żyć o ledwie nie żebranym chlebie,
Lub — a myśl sama o tem barwę z twarzy zdziera —
Starać się zostać błaznem pana lub bankiera.

Leży cicho... Już więcej nie przyjdzie ta jędza
Z szczękami trupiej głowy, co się zowie nędza,
Już nie przyjdzie i marzeń mu więcej nie starga...
Leży cicho... Ostatnia, wielka, straszna skarga
Wyszła mu z ust wraz z jękiem, gdy drzący i blady
Pocisnął cyngiel — padł strzał — zbiegły się sąsiady,
Drzwi otwarli, a widząc trupa na podłodze,
Cofali się ze wstrętem i żegnali w trwodze.

A tymczasem świetlana, z skrzydłami złotemi,
Odchodziła poety dusza precz od ziemi
I podniosła się zwolna i kędyś w przestrzenie
Wracała, zkąd przychodzi na ziemię natchnienie...
Wzdymaj się srebrnomodre, nieskończone morze!
Wzdymaj się! Ty mu zahucz, jak tryumfu dzwony!
Wzdymaj się, ty potęgo ogromna i dzika,
Elemencie królewski i nieuskromiony!
Wzdymaj się! Gdy raz zerwał z szyi swej obrożę,
Jego zwycięzkiej śmierci to godna muzyka!...

Pieśń tryumfu mu zahucz! Oto już nic zgoła
Wolnej, skrzydlatej duszy krępować nie zdoła —
W przestworzu od gwiazd skrzących i komet ognistem
Lecieć będzie z błyskawic trzaskiem i prześwistem —
Ile wysp złotych w słońcu, pieczar skrytych w bluszcze,
Kwiatów, co wybuchają lawą z ziemi Wschodu,
Gdzie jakich skał granity i gdzie jakie puszcze,
Wszystkie zorze na toniach spiętrzonych od lodu,
Wszystkich wulkanów ognie: wszystko wszystko dla [niej.
Wszystko! Niema granicy, kresu, ni przystani...
Wolna jak mgła powietrzna na niezmiernem niebie,
Lecieć będzie i wszystko, co niegdyś kochała,
Ciszę, światło i przestrzeń, wszystko mieć dla siebie,
Wydarta, wyzwolona z wstrętnych więzów ciała!

Wzdymaj się srebrnomodre, nieskończone morze!
Wzdymaj się! Oto na twe rozhukane zwały
Upadłszy, piaski pustyń nadbrzeżnych rozorze
I zatrzęsie w podstawach wysp skrzesane skały.
Na delfinów srebrzyste rzuciwszy się grzbiety,
Płynąć będzie, gdzie palmy cień rzucają liściem
I na błyszczącym sierpem zdobne minarety
Księżyc bladych lśnień strugi rozlewa przed wnijściem.

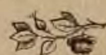
Oto przepastne wody tumanem się wznoszą
I wirem zakręcone piętrzą się w niebiosy —
Ha! Z jakiemż upojeniem i z jaką rozkoszą,
Uchwyciwszy się wichrów płomiennych za włosy,
Leci, topi się w głębiach, jako sokół w chmurze,
Opada w dół i znów się porywa do góry,
Aż wreszcie, rozszalała, jak gryf złotopióry,
Z mórz nad morza przelata, ściga grzmiące burze,
I kędyś, gdzie się szafir sennych wód kryształi,
Rzuci się odpoczywać na przejrzystej fali...

Wzdymaj się, srebrnomodre, nieskończone morze!
Wzdymaj się, pieśń radości mu szum, pieśń wesela!
Oto już ognia marzeń nic mu nie spopiela,
Nic kaskad jego natchnień tamować nie może.
Oto już owe kształty, owe światła, tony,
Co były jego duszą, jego krwią serdeczną,
Nie będą, jako obłok wichrem rozpędzony,
Pierzchać przed strasznem widmem życiowej niedoli, —
Oto już wszedł w tę ciszę i spokojność wieczną,
Gdzie nic więcej nie łamie, nic więcej nie boli.

Minęły już te noce, gdy przedziwne cienie
Nad jego młodą głową splatały się w wieńce,
I prosiły, składając, jak do modłów ręce:
Oto nas twe do ciebie przysłało natchnienie,
Chcemy na świat! Patrz, jakie piękne i tęczowe,
Daj nam, jak gwiazdom jasnym, nad twem czołem [błysnąć,
Daj nam ciało, daj duszę... A on ściskał głowę,
Co pękała w gorączce, i pytał sam siebie:
Co jutro? Lecz co jutro? Czy z okna się cisnąć?
Czy żyć dalej o ledwie nie żebranym chlebie?
Dalej walczyć z tym losem, co kościaną ręką
Pochwyciwszy za gardło, pierś gniecie kolanem,
I, jak upiór, się poić zda ofiary męką,
Unicestwianą siłą i życiem złamanem?
Dalej za nędznej strawy kęs uginać karku,
Zapierać się swej duszy, pragnień, woli, wiary,
Myśl swą, krew swą przemieniać w towar na jarmarku,
Szukać kupca i ducha przykrawać do miary?
Dalej z wniebowstępnego cisz i wyżyn lotu
Opadać ku ziemskiemu gwarowi i błotu,
Gardząc własną słabością i dolą ofiary?!...

Niech mogiłę samotną w nieświęconej ziemi
Tłum prawowierny mija z obawą i wstrętem. —
Kto się życia rękoma pozbawia własnemi,
Tego duch potępiony, imię jest przeklętem.
Mówią, że czasem sokół, zamknięty do klatki,
Próbuje stargać druty, aż gdy skrzydła skrwawi,
Pierś porani i siły wyczerpie ostatki,
Oszalały z rozpaczy głodem się zamarza...
Ludzie spokojni, trzeźwi, rozsądni i prawi,
Unikajcie głuchego wyklętych cmentarza.

Kazimierz Tetmajer.



i w ciągłej obserwacyi piękności Pragi, drugą w młodziutkiej dziewczynie. Spotkał to dziewczę, powracające ze szkoły do domu, i tak się jakoś złożyło, że nastąpiła znajomość, sposób zawarcia której wykazał całe dziecięctwo Jerzego i czystość jego wiosennej duszy. Niestety, panienka figlowała z nim jedynie. Tymczasem kilka rozmów z osóbką tak sprytną i parę skradzionych i ofiarowanych mu pocałunków zasunęło na jego oczy mglistych ułud zasłonę. Wreszcie czas, odkrywca brudów w przedmiotach najczystszych, obnażył mu kokieteryę i próżność bezgraniczną Klary. Nakoniec ta figlarna, lubiąca zbierać hołdy i zmuszać filuternością i drażnieniem do nadskakiwania, a nie znosząca oporu dziewczyna, odbija skargi młodzieńca niby kulę krokieta, gdzieś w dal poza wonną uczuć murawę, — i zadowolona z chwilowego użycia, ucieka szybko do domu (spotkania odbywały się tylko na ulicy, — Jerzy był za biedny i za nadto podarte miał buty), aby za godzin kilka zawisnąć w ramionach wymuskanego tancerza. Jest to jeszcze dziecię, stworzonko dla oka miluchne, a już rozkapryszone i próżne, chcące użyć życia i rzucające wszystko, gdy uczuwa brak krwi do wyssania.

Klara to zarodek despotycznej kokietki, niejeden przeto Jerzy straci przez nią wiarę do ludzi, a zyska zniechęcenie i serca chorobę, bo chochlików siła czar umie rzucać wielki.

Z Hegra Jerzy niewielką też miał pociechę. Życia przy brzęku szklanek i w hurys objęciach Jerzy nie lubiał. A że Hegr wracał zwykle z knajpek, gdy Jerzy już spał, ten zaś wychodził, gdy Hegr jeszcze spał, widywali się więc bardzo rzadko. Hegr hulał i używał przyjemności po za domem i w domu. Wynajmował on pokój od kobiety, handlującej mięsem, która pożyczała mu w drodze łaski swe ciało. Naiwna Jerzego dusza długo nie zdawała sobie sprawy z tego ukrywanego co prawda stosunku, równie jak z żywienia się na rachunek „dam“, praktykowanego w kołach studenckich na mocy umizgów ku pannom służącym lub przełożonym garkuchni. Czynił to i Hegr. Lecz miarka się przebrała i Hegr, mogący żyć dostatnio, bo zamożnych miał rodziców, doszedł dzięki hulankom, kartom i dziewczętom do tego, że nawet w restauracyjkach odmówiono mu dalszego kredytu. Wtedy to Hegr pożyczył od Jerzego ostatnie dwadzieścia krejcerów z warunkiem zwrócenia ich w dwóch godzinach. A Jerzy był już wówczas dobrze chory, kaszlał coraz więcej, sił mu brakło, bo niespodzianki praskie, uderzając weń jedna po drugiej, rozstroiły go dostatecznie. Żył bardzo skromnie i w dzień owej pożyczki czuł się niemożliwie osłabionym i głodnym. Hegr pieniędzy nie odniósł. Jerzy pół-błędny z wycieńczenia i z wzmagającej się gorączki biegnie go szukać podczas deszczu i rzeczywiście spotyka go z „damą“. Pyta o pieniądze. Hegr zbywa go słowem „nie mam“ i mało dbając o towarzysza, podąża z kobietą, której może dziś jeszcze stanie się kochankiem i będzie u niej wieczerzał. Jerzy mknie szybko, lecz nagle bezwiednie staje na ulicy. Słychać głos cytry. To restauracya. Odchodzi, wraca się, waha, wreszcie wszedł. W kieszeni nie miał ani hellera. „Piwo zwyczajne“, — rzekł. Siedział i pił długo. Grzał się w cieple restauracyjnem. Wypił. Jak uciec? Obawia się oczu ludzkich. Lecz powoli wstaje, — już na ulicy... Nogi, niby trzciny, łamią się pod ciężarem występku i osłabienia. Błądzi po ulicach nieświadomie. Dom, rodzina, ludzie prascy, owo „piwo“ przebiegają mu po głowie. Wtem chwyta go kolega i ciągnie do knajpki, gdzie usługuje ładna Berta. Widział ją już tu kiedyś i nawet złożył na jej policzkach kilka pocałunków, — trwożliwie, z obawą, czy jej nie urazi. Obraziła się, myślała bowiem skorzystać coś od niego. Gotowa była sprzedać mu wdzięki swoje, ale nie za darmo — nie! na to nie mogła pozwolić. Lecz dziś i on jej nie widział, w głowie mu się kręciło, — siedział i fantazyował. Nagle pożegnał się i podążył do domu. Błądził, rozmawiając z sobą. Ktoś go odprowadził. W nocy zachorował na dobre, a rankiem Hegr odwiózł go do szpitala, gdzie wkrótce zakończył żywot suchotniczy i miłość nerwową ku Pradze. Jerzy, ten nie umiejący zastosować się do życia, sympatyczny młodzieniec, zginął. Hegr zdrowszy i zamożniejszy wyszedł szczęśliwie.

Autor przedstawiając życie Jerzego i opisując przebieg różnych wypadków, — daje nam subtelne wizerunki wielu ludzi i wprowadza nas w życie społeczne. Bardzo plastycznie i wiernie skreślił rodzinę urzędniczą Jordana, pracującą usilnie na kawałek chleba i widzącą w Jerzym jakąś wyższą istotę. Morały ojca, jego niby oschłość, a tajenie łez, gdy pociąg z synem odjeżdża — sercem bratu oddana siostra, drobiazgowe przyjemności, wyświadczane mu przez matkę, pouczające listy rodzica z guldenem „na piwo“, — to żywa natura. Autor kilkoma kreskami odtwarza te postacie. Prowadzi on Jerzego na różne miejsca i zapoznaje nas w ten sposób ze stosunkami praskiemi, wychowaniem szkólnem, nędzą studentów, ich hulankami, z obojętnością warstw zamożniejszych dla młodzieży, z filisterstwem mieszczańskiem, z życiem knajpiarskiem, które wielu pożera studentów, z gmachem szpitalnym i jego wadami, z dążeniem ogólnem do Pragi, tego niby klucza szczęśliwości i zarobkowania, a wszystko ogrzewa ciepłem serdecznem i spostrzegawczym, głębokim oświetla rozumem.

Język jego to najpiękniejsza proza czeska, a opisy tchną nadto wdziękiem i artyzmem prawdziwego poety. Najcudowniejszemi też ustępami w *„Santa Lucia“* są widoki Pragi i kilku innych miejscowości. Połowę niemal książki wypełnił niemi autor. Pędzel ma impresyonistyczny, silny, — jego naturę widzimy i kochamy.

W powieści tej jednak razi nadmiar żywiołu opisowego. Są to ustępy śliczne, ale taka ich obfitość, że akcya niemi obarczona tylko powoli się rusza.

Prócz „Santa Lucii“ Mrsztik wydał kilka zbiorków nowel: „Cienie“, „Obrazki“ i t. d. Malowniczość, plastyczność i jędrność cechują wszystkie jego drobiazgi.

Zygmunt Makowiecki.

Chorał Kornela Ujejskiego
w obrazach Jana Styki.

Pod wrażeniem oceny umieszczonej w „Dzienniku poznańskim“ poszedłem obejrzeć tyle zachwalany cykl obrazów Jana Styki, ilustrujący „Chorał“ Kornela Ujejskiego.

W społeczeństwie naszem niema chyba jednostki, któraby nie czuła wielkości i podniosłości pieśni tej, podyktowanej natchnionemu poecie przez srogi ból po stracie ukochanej Ojczyzny. Pieśń przelała się w dusze i serca narodu i stała się naszym hymnem narodowym, naszą skargą i modlitwą. Naród przyjąwszy pieśń jako wyraz swych uczuć, włożył tem samem na skronie poety wieniec uznania i nieśmiertelności.

Poeta i literat wyraża swe wrażenia, obserwacye i uczucia, pisząc je rymem czy prozą, — muzyk wlewając je w tony, akordy i melodye, — a malarz, tworząc obraz przy pomocy rysunku, światła i barw.

Każde dzieło, tak z dziedziny literatury, muzyki, jak i sztuki malarskiej, oprócz treści musi mieć odpowiednią formę. Rozumiem przez to, że najpiękniejsza myśl lub temat napisane złym językiem i stylem przestaje być dziełem, — zarówno jak i najpiękniejszy utwór muzyczny, przez wykonawcę źle zrozumiany i źle wykonany, staje się ułamkiem lub karykaturą. W malarstwie forma właściwie, a nie myśl najważniejszą odgrywa rolę. Obraz robi najpierw wrażenie na zmysł wzroku, a kompozycyą swoją i wykonaniem rozbudza u widza zrozumienie treści, t. j. uczucia lub pojęcia, które artysta chciał przedstawić. Gdy w obrazie nie znajdziemy dobrej kompozycyi, dobrego rysunku, prawdy w oświetleniu i kolorze, przestaje on być dziełem sztuki, — pomimo najpodnioślejszego tematu i myśli.

Artysta malarz Jan Styka przedsięwziął przedstawić „Chorał“ w obrazach, które obecnie na Wystawie sztuk pięknych w Poznaniu oglądać możemy. Jak artysta zrozumiał i pojął myśl poety, przypatrzmy się:

Obraz I.

...Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń,
Wiecznie jak pomnik Twojego gniewu
Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.

Na chmurach dymów i pary klęczy kobieta w królewskim płaszczu żałobnym z wzniesionemi rękami i wieńcem cierniowym na skroni. W postaci tej na próżno szukać ruchu, wyrazu boleści, rozpaczy, „skargi strasznej“ i „jęku ostatniego“. Figura ta klęczy spokojnie, ręce wzniesione z teatralnym patosem, nic wyrażają nic; twarz łagodna z banalnym wyrazem nie czuje „cierniowego wieńca“ co „wrasta w skronie“.

Poniżej widać sylwetę Wawelu na tle zorzy, o której na pewno powiedzieć nie można, czy jest wieczorna czy poranna, ale za to na pewne twierdzić można że nie pochodzi od „pożaru“. W prawym rogu obrazu „sterczy“ kilkanaście rąk, a z tych wyróżnia się para rękawów z przyczepionemi do nich bezsilnemi i omdlałemi rękami, trzymającemi szablę. Wszystkie ręce źle narysowane, niecharakterystyczne i nic nie wyrażające.

Kompozycya cała nie robi wrażenia owej grozy i boleści jaką czujemy w słowach poety, które obraz ten ma ilustrować.

Obraz II.

...Znowu wołamy, On się przebłaga,
Bo On nasz Ojciec, bo On nasz Pan,
I znów powstajem w ufności szcze si...

Obok działa, dwóch klęczących kosynierów, malowanych z kompletną ignorancyą proporcyi i rysunku. Poza nimi stoją dwaj żołnierze z r. 1831., jeden z chorągwią, drugi z wyciągniętym pałaszem, a obydwaj chude, nierycerskie, i niepoczesne figury, sztywno ustawione. Na prawo zakonnik, nie mażący nawet w zakonnej swej skromności o choćby tylko możliwym rysunku, podniósł śpiącą głowę i błogosławi. Obok niego chłopcy dziwnie skuleni. Horyzont zamykają kłęby brudnej waty — w której domyślać się trzeba tłumu kosynierów. Na ich czele stoi sztywny powstaniec z r. 1863. Wszystkie figury bez wyjątku źle rysowane, sztywne, brzydkie, bez wyrazu, a obraz cały robi wrażenie szkicu kompozycyjnego, a nie rzeczy obmyślonej i skończonej.

Obraz III.

Owóż w zwątpienia strasznej rozterce,
Nim nasza wiarę ocucim znów,
Bluźnią Ci usta, choć płacze serce.

Noc, — ciemne niebo rozdarł piorun i oświetlił pole bitwy. Przy świetle tym widać rozbite działo, a na ziemi zwłoki ubitego artylerzysty. Figura ta dobra w ruchu, ale fatalnie narysowana — lewa noga wyrasta nieomal z pod pachy. Obok spoczywa ranny żołnierz, z zawiązaną głową, wsparty

na lafecie, z wyrazem spokojnej boleści w oczach, a obrzydzenia w ustach. I ta figura marnie rysowana i zagubiona w masach cieniów, nie tłomaczących się należycie.

Na pierwszym planie leży zabity żołnierz. Figura ta nieestetycznie skomponowana, brzydka w ruchu, źle narysowana, w skutek czego nie ma skrócenia perspektywicznego.

Światło skoncentrowane, pochodzące np. od słońca lub pioruna, daje cienie rzucone o twardym konturze, a cienie te ułatwiają zrozumienie kształtu i pozycyi oświetlonego przedmiotu. Tymczasem na obrazie tym cienie rzucone są rozlane, co sprawia, że figury toną w ciemnych plamach, kompletnie nie tłomaczących się dla widza.

Wiadomo wszystkim, że promienie światła biegną po prostej linii. W obrazie tym ma się rzecz inaczej — motyw światła znajduje się z tyłu figur, a figury oświetlone są z prawej strony obrazu.

Obraz IV.

„Okropne dzieje przyniósł nam czas.
Syn zabił ojca — brat zabił brata.
Mnóstwo Kainów jest pośród nas".

Na kamieniu tlejące i dymiące resztki ognia ofiarnego, a obok leży skandalicznie narysowane ciało zabitego Abla. Na terenie maczuga o przedhistorycznych kształtach. Na dalekim widnokręgu tej czysto biblijnej ilustracyi — polski dworek szlachecki z ganeczkiem.

Obraz ten właściwie nie zasługuje na wzmiankę, raz z powodu braku artystycznej wartości, a powtóre z powodu zupełnego niezrozumienia myśli poety.

Obraz V.

Patrz! my w nieszczęściu zawsze jednacy
Na Twoje łono do Twoich gwiazd
Modlitwą płyniem jak senni ptacy.
. . . .
Niech nas męczeństwa otoczy blask.

Kopalnia syberyjska — gromadka wygnańców przy oświetleniu gromnicy żegna modlitwą konającego towarzysza broni i niedoli. Obraz ten stanowczo w kompozycyi najlepszy grzeszy jak wszystkie brakiem rysunku i konsekwencyi w przeprowadzeniu oświetlenia. Figury, to modele klęczące, bez wyrazu cierpienia, tęsknoty za krajem, tęsknoty, co toczy duszę i śmierć pożądaną czyni.

Obraz VI.

...Bóg był i jest.

Na białym rumaku jedzie porcelanowa lalka ze skrzydłami i włosami z konopi, a w krótkiej, pozbawionej muskułów ręce, trzyma ognisty miecz, którym podcina rumaka, tratującego płaskiego dwugłowego orła, zdjętego widocznie z godła wieszanego na carskich urzędach. Za lalką jedzie zastęp wojowników przeważnie o mongolskich twarzach — resztę dośpiewaj sobie czytelniku, patrząc na to dzieło.

Daruj mi, cieniu Grottgera, że wspominając cię na tem miejscu, — gdy jednak w duszy brzmi mi uroczysta pieśń chorału, przed oczyma stają Twoje arcydzieła. Tyś jeden do tej pory z niezrównaną genialnością wlewał życie, zapał, cierpienia i grozę — w rysowany świat i ludzi. Ty — inaczej zrozumiałbyś poetę.

W. Skibiński.

Koncert Hubermanna.

***Monachium**, 16 listopada.*

W środę 13-tego bm. odbył się na tutejszej sali Kaim'a koncert Bronisława Hubermanna. Artysta ten dziecięcy występował już od czasu tryumfów wiedeńskich (w styczniu b. r.) w Pradze, Berlinie, Paryżu, w Anglji, Belgji, Holandji i Węgrzech, wszędzie wzbudzając ten sam podziw i zapał niezwykły. Teraz zamierza on objechać znaczniejsze miasta w Niemczech. Zaczął od Monachium. W środę występował raz pierwszy, drugi raz zagra w poniedziałek.

Publiczność zapełniła obszerną salę Kaima aż po brzegi. — Wielkiem było oczekiwanie, gdy godzina nadeszła, a orkiestra zaczęła się sposobić do akompanjamentu, wydając te tak konieczne, choć niekoniecznie przyjemne zgrzyty i skrzypienia przy strojeniu strun.

Wreszcie zjawiło się małe dziecko, postępując na sam przód estrady, a fizjonomista z rysów twarzy i postawy układał sobie z góry zdanie o duszy młodocianego artysty. Jeżeli był zarazem estetykiem, wrażliwym na szkolniczo uznawane piękno, może się rozczarował, jeżeli szukał głębokości wyrazu, nie omylił się, owszem, więcej znalazł, niż się może tego spodziewał. A wyraz ten, pełen uczucia i myśli, w miarę, jak chłopczyk grał, coraz więcej potężniał uduchowiając twarz, że stawała się tem samem piękną. A taki spokój i taka miara panowała mimo to w tem zewnętrznem odbiciu uczucia, taka pewność tryskała z niego, że się i widzom wnet udzieliła, nie pozwalając im na chwilę wątpić o potędze duchowej dziecięcego skrzypka, wykluczając z góry wszelkie obawy, czy tylko zadaniu swemu sprosta.

I przestał kombinować fizjonomista, przestał krytykować estetyk, nikt nie rozważał, każdy poddawał się wrażeniom tylko, bo skrzypek tak nakazywał, bo skrzypek pociągał smyczkiem już i po strunach duszy słuchacza. Umysły wrażliwsze przechodziły ow dreszcz zachwytu i upojenia, jaki się nam udziela przy wszelkich głębszych odczuciach estetycznych, czy to w dziedzinie muzyki, czy to poezji, czy to sztuk pięknych.

W takim stanie przebył już czuły słuchacz cały wieczór, przechodząc ze skrzypkiem całą skalę uczuć, od smutnych do wesołych, zawsze równie uniesiony w sferę wyższą, ponad wszelkie codzienne sprawy, w sferę, gdzie wszystko, i dobro i zło, i jęk bólu i okrzyk radości, zlewa się w jedną harmonję, niezachwianą i czystą. Tak chciała sztuka, nie sztuczna, lecz prosta i szczera, jak prawda, jej rodzica.

Lecz do tej szczerości w oddawaniu własnych uczuć dochodzi zwykle dopiero umysł dojrzały, po wielu latach zapasów ze sobą samym, po wyszumieniu porywów nieokiełznanych, po odrzuceniu obcych naleciałości. I wtedy uchylamy czoła przed mężem wyrobionym przez życie, czy on będzie działał na polu nauk, czy sztuki. Żeby to samo uczynić wobec chłopca, od którego nie my uczyć się, lecz jego uczyć, — takbyśmy sądzili — powinniśmy, zdaje nam się dziwnem. Ale cóż, kiedy ten olbrzym dziecięcy zmusza nas do tego. A kto temu nie daje wiary, niech posłucha gry małego Hubermanna, niech uczyni to bez z góry powziętego zdania, bez filisterskiego oporu, a wnet sam czoła uchyli i przyzna się do tego z rozkoszą, bo rozkoszą poddać temu dziecięciu duszę swą całą.

Takim jest dzisiaj Broniś Hubermann; czy takim zostanie o tem wątpić wolno, choć chwilowo to nie wchodzi w rachubę. Może z dziecięcością zniknie ta prostota, którą dziecko na świat przynosi, a rzadko kto w późniejszem życiu, gdy się przetrawi duchowo, w całej pełni odzyskuje.

W każdym razie nie zatraci nasz skrzypek swoich zdolności fizycznych, owszem wzmocni je pewnie z czasem jeszcze, choć i teraz są one już tak rozwinięte, że zdaje się trudności techniczne dla małego skrzypka nie istnieją wcale. Dowodem na to, że naprzykład Sarasatego „Zigeunerweisen", ten zbiór łamańców technicznych, gra z taką łatwością, że przechodzi w tem może samego ich twórcę. Równie gładko sprawia się z tak trudną do wykonania „Chiaconną" Bacha. W ogóle repertuar „cudownego dziecka" jest niezwykle bogatym, bogatszym może, niż niejednego znamienitego dorosłego mistrza. I tak grywa on koncerty Beethovena, Mozarta (w A), Mendelssohna, Sphora (2 i 6), Joachima, Brucha (1 i 2), Violti'ego (21 i 22), Rode (7 i 8), Wieniawskiego (D-mol), Paganiniego (D). Ernsta (Fis-mol), Kreutzerową sonatę Beethovena, „Träumerei" Schumanna i jeszcze około 30 rzeczy starszych i nowszych a mianowicie kompozycye Tartiniego, Rubinsteina. Sarasatego, Vieuxtemps'a, Czajkowskiego, Raffa, Griega, Svendsena i t. d.

To też krytyka nie może się dosyć nadziwić owemu fenomenalnemu dziecku, a co najciekawsze to to, że tak zwykle ze sobą powaśnieni krytycy, jak Hanslick i Helm, Engel i Tappert, Bruneau i Magnier tu o walce śmiertelnej zapominają, wynosząc zawsze grę małego skrzypka pod niebiosy, wróżąc mu że stanie się twórcą nowej ery w muzyce.

Jak wiadomo, gwiazdę tę odkrył i pokazał światu Zamoyski, protegując małego Hubermanna, w czem go później cesarz austryacki zastąpił.

Notus.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Uniwersytety ludowe
w Skandynawii.

(Dokończenie.)

Profesorowie są prawie bez wyjątku akademicznie wykształceni. Wymagają od nich głównie dwóch rzeczy: Po pierwsze muszą to być *doskonali mówcy*. Grundtwig podnosił zawsze znaczenie i wpływ *żywego słowa*. Nie z książek lub z manuskryptów odczytywana, lecz swobodnie, żywo z przekonaniem wypowiadana myśl zawiera dość siły, by młode dusze rozbudzić i zapalić. „*Najlepsze* nie jest *zbyt dobrem* dla ludu" — oto prawda, którą się kierują w tych kołach, pracując na polu oświaty. Wprawni nauczyciele, którzy już wiele lat życia strawili na pracy pedagogicznej, przygotowują się wyczerpująco do każdego wykładu. Dla tego też spotyka się pomiędzy profesorami uniwersytetów ludowych najlepszych mówców Skandynawii. W prelekcye swe wkładają oni nie tylko potrzebne wiadomości i rezultaty badań naukowych, lecz i własną indywidualność, — część siebie. By módz to uczynić, trzeba *głęboko ukochać lud* — i to jest właśnie drugim kardynalnym warunkiem stawianym profesorowi. Nie dla stanowiska i nie dla zysku, lecz z miłości i współczucia dla ludu ubiegać się powinien o posadę nauczyciela w uniwersytecie ludowym. Szczęściem jest wielu ludzi dobrej woli, którzy chętnie porzucają katedry uniwersyteckie stolic, by żyć i pracować wśród ludu wiejskiego, dla jego dobra. Taką wybitną jednostką jest pomiędzy innemi sławny przyrodnik i wynalazca *Paweł la Cour* w Danii, oraz bystry i wszechstronny teolog *Christoffer Braun* w Norwegii.

Uczniowie, którzy ukończyli kurs, uwa-

żają też czas pobytu w uniwersytecie ludowym za najpiękniejszą epokę życia i przez długie lata starają się podtrzymywać stosunki z profesorami szkoły.

Liczba uczniów w jednej szkole waha się pomiędzy 40 a 100, a wiek ich pomiędzy 18 a 30 rokiem życia. Najliczniejszy kontyngens składa się z synów i córek rękodzielników i chłopów, w mniejszej liczbie znajdują się tu synowie kupców i urzędników. Wielu młodych ludzi, posiadających środki odpowiednie, pozostaje w szkole przez ciąg kilku kursów. Wykłady są z tego powodu tak ułożone, iż dwa następujące kursa różnią się pomiędzy sobą całkowicie treścią swoją. Ubodzy najemnicy i chłopi otrzymują stypendya, zebrane przez bogatszych. Rządy zajęły stanowisko nader przyjazne względem tych szkół. Po ukończeniu konfliktu państwowego w 1892 r. wspomaga je np. rząd duński znacznemi sumami. Stypendya udzielane ubogim uczniom, sięgają rocznie 120,000 koron. $^1/_3$ honoraryum profesorów opłaca rząd; przyczynia się on również hojnemi datkami do wzbogacenia zbiorów naukowych.

Początkowo kursa dla mężczyzn i kobiet prowadzone były oddzielnie; obecnie zaprowadzono w wielu zakładach wykłady wspólne dla obu płci, (Gesammtschule, *Samskola*) co w Finlandyi już od początku istnienia tych szkół było w użyciu. Wspomnieć tu należy, iż Finlandya jest błogosławionym krajem, w którym panuje amerykański system wspólnego wychowania obu płci już od r. 1882.

Pierwsza *Samskola* tj. gimnazyum wspólne dla dziewcząt i chłopców, utworzona została z funduszu zebranego drogą prywatnych składek w r. 1882. System ten zdobył sobie wkrótce tylu przyjaciół pomiędzy pedagogami, iż dzisiaj liczy Finlandya aż 12 takich wspólnych gimnazyów. Światli rodzice najchętniej dzieci swe w tych szkołach umieszczają, doszedłszy nareszcie do przekonania, że rozdzielanie obu płci tak na ławkach szkolnych jak i w życiu jest zasadą z gruntu niezdrową.

W klasach pracujących sztuczny ten rozdział nie istnieje, dla tego też stosunek obu płci jest tam lepszy, zdrowszy, naturalniejszy. Z tego też właśnie powodu i w uniwersytetach ludowych nie było potrzeby rozdzielania i rozgraniczania wykładów dla obu płci.

Uniwersytety ludowe dają krajom, w których funkcyonują, nie zastępy marzycieli lub półmędrków, lecz ludzi praktycznych, światłych, dzielnie do życia przygotowanych; iż twierdzenie to nie jest gołosłownem, świadczą postępy ludu w gospodarstwie rolnem, ogólne znaczne wzniesienie się dobrobytu w tych krajach, w których oświata w niższe warstwy narodu przenikła. Tak np. w Danii, chłopi gospodarujący dawniej pojedyńczo każdy na własnym kawałku roli, zaczęli się łączyć z sobą, tworząc w ten sposób większe fermy wzorowe, zaprowadzając w nich gospodarstwo mleczne na wielką skalę i rozmaite ulepszenia.

Produkcya i wywóz masła za granicę wzrósł w przeciągu kilku lat z 18 na 80 milionów f. rocznie. To samo daje się powiedzieć o hodowli bydła, etc. Piaszczyste ongiś wydmy i nieużytki pracowitemi i umiejętnemi rękami zmienione zostały w łąki, gaje, lub pola uprawne. We wszystkich nieledwie wioskach znajdują się dziś towarzystwa gimnastyczne, strzeleckie, — szkoły, biblioteki, czytelnie. Wszędzie znać ślady czynnej, nieustającej pracy i postępu. Życie rodzinne ludu pogłębiło się i uszlachetniło. Nietylko charakter stosunków rodzinnych, lecz i stosunek pomiędzy chlebodawcą a najmitą stał się łagodniejszym, więcej cywilizowanym. Oświata czerpana z jednego źródła zniwelowała głębokie różnice wytwarzane przez położenie majątkowe. Synowie jednego narodu czują się organicznie związani pomiędzy sobą, zbratani duchem. Ludzie chylą jak dawniej karki nad pługiem, lecz robią to dziś z sercem weselszem, z myślą rozbudzoną, jasną. Świat rozszerzył się przed nimi i wypiękniał. Praca nie jest już dla nich ciężkim przymusem, lecz staje się błogosławionym obowiązkiem, ich dumą, — wiedzą bowiem, iż służą przez nią nie tylko sobie, lecz ojczyźnie i ludzkości.

Kończąc relacyę z pouczającego odczytu, który odsłonił nam niejedną jasną kartę z życia wolnych narodów Północy, z goryczą mimowoli wspominamy ów sztuczny system ciemnoty, jakim władze rosyjskie tamują rozwój oświaty ludu wiejskiego na Litwie i Żmudzi.

Nieludzkie, bezprzykładne barbarzyństwo posuwa się tu w swych zakusach ku zduszeniu światła i człowieczeństwa aż do nakładania kar więziennych lub pieniężnych na osoby uczące czytać dzieci wiejskie lub dorosłych analfabetów. O założeniu *szkoły* w tych warunkach nie może śnić się nawet najzapaleńszym marzycielom.

Rdzewieją siły ludzi dobrej woli, rozbijają się dobre chęci o nieprzełamane zapory.

Egipska ciemnota, rozwój wsteczny, ruina ekonomiczna — oto plony, na które patrzeć musimy ze związanemi rękoma, skazani na bezczynne obserwowanie rozkładu własnego narodu.

Obyż w *wolniejszych* dzielnicach Polski znaleźli się ludzie pojmujący potrzebę czasu — prawdziwi swego kraju *obywatele*, oby mając dobro ogółu na celu, zechcieli naśladować przykład Norwegii, Szwecyi, Finlandyi, — przedewszystkiem zaś przykład drobnej, zwyciężonej Danii!...

Jerzy Zan.



KRONIKA GALICYJSKA.

Kraków 19 listopada.

(*„Benjaminek Austryi“. — Nieco statystyki.*)

Ktoby wierzył dziennikom wiedeńskim i powtarzającemu za niemi, jak pacierz za panią matką, dziennikarstwu europejskiemu, ten byłby przekonany, że Galicya jest najdroższym Benjaminkiem Austryi, Nieszczęśliwi Niemcy, godni litości Czesi! — rządy austryackie traktują ich po macoszemu, a najlepsze sukienki i najsmaczniejsze łakocie mają dla najmłodszego synka. Tymczasem nieznośna statystyka powiada, że właśnie najmłodszy synek chodzi w łachmanach i żywi się tem, co spadnie ze stołu. A nie jest to żadna statystyka prywatna, ale urzędowa, oparta na świeżej publikacyi centralnej komisyi statystycznej wiedeńskiej. Przytaczam z niej kilka cyfr na dowód, jakiej to niezwykłej opieki doznaje Galicya, jak opływa w bogactwa i rozkosze.

Kiedy „nieszczęśliwe“ Czechy posiadają 56 szkół średnich, Galicya ma ich 33. W Czechach jedna szkoła średnia przypada na 80,000 ludności, na Morawach na 64,000, na Bukowinie (którą się uważa za najwięcej upośledzoną) na 165,000, w Galicyi zaś na 206,000 ludności. W Czechach szkoły handlowe wyższe kształcą rocznie 1,250 uczni, niższe 3,200 — w Galicyi istnieje tylko jedna, licząca 92 uczniów. W pięciu szkołach państwowych przemysłowych czeskich ukończyło nauki 1,210 uczniów, w dwóch galicyjskich 320. Galicya nie posiada ani jednej szkoły rękodzielniczej, Czechy mają ich pięć. Szkół rolniczych, kraj wyłącznie rolniczy, Galicya, ma 14, a przemysłowe Czechy 43. Czesi mają 271 szkół wydziałowych, a Galicya 9. Szkół ludowych jest w Czechach 4807, z których mniej niż trzecia część posiada tylko jedną klasę, w Galicyi na 3700 szkół ludowych jest jednoklasowych przeszło 3000. Ogółem w Czechach na tysiąc mieszkańców przypada jedna szkoła, w Galicyi jedna na 2000. Zupełnie taki sam jest stosunek w liczbie nauczycieli.

Tak wyglądają stosunki szkolne. Przypatrzmy się teraz stosunkom sanitarnym. W Galicyi jeden lekarz przypada na 10.000 mieszkańców, na taką samą ilość mają morawianie 2 lekarzy, czesi 3. W parze z tem idzie śmiertelność, która tylko na Bukowinie jest wyższą, aniżeli w Galicyi. Jedna Dalmacya daje mniej z hektaru roli niż Galicya. Kiedy w Czechach hektar taki przynosi 8 złr. 70 ct., w Galicyi 2 złr. 55 ct. Taki sam stosunek przedstawiają dochody z łąk, lasów i gospodarstwa wodnego.

Jak się Galicya bogaci na niekorzyść innych krajów austryackich, to przedstawia najlepiej obdłużenie ziemi. W Czechach obdłużenie to wzrosło o 300,000 złr., na Morawach zmniejszyło się o pół miliona, w Austryi dolnej zmniejszyło się o 2 miliony... w Galicyi wzrosło o 2 miliony. Kiedy żaden kraj austryacki nie wykazuje więcej nad 66 majątków sprzedanych z większej posiadłości, w Galicyi cyfra sprzedanych wynosi 632. Mniejszej własności, wartości do 1000 złr., sprzedali chłopi galicyjscy dobrowolnie 35.000, wówczas kiedy takich własności sprzedano w Czechach i Morawach 7000, a w innych krajach austryackich od 1000 do 3000.

Poprzestaję na tych cyfrach, dowodzących jak nisko stoi Galicya wobec innych krajów austryackich i jak tendencyjnemi są twierdzenia prasy wiedeńskiej o protegowaniu Galicyi. Cyfry te są także ilustracyą rezultatów naszej polityki. Idzie nam zawsze mocno o walkę stronnictw w Radzie państwa — całe szpalty zapisujemy obecnie sprawą Luegera — już cztery artykuły wstępne jej „Czas“ poświęcił — a nie mamy ani jednej szkoły rękodzielniczej, a chłopi emigrują coraz większemi masami do Ameryki, a ziemia przynosi nam cztery razy mniej aniżeli w Czechach, a jeden lekarz przypada u nas na 10,000 mieszkańców. Za to w dochodach Galicyi zapisujemy przybycie nowego hrabiego, którym dzięki naszej produkcyjnej polityce został jakiś p. Juliusz Bielski. Polityku my więc dalej.

K. Bartoszewicz.



Wychodztwo do Rosyi.

W szeregu zjawisk społecznych, wypływających z ujarzmienia politycznego ziem zaboru rosyjskiego, niezaprzeczenie jedno z najwybitniejszych miejsc zajmuje wychodztwo na wschód.

Zjawisko to tem większą budzi ciekawość i tem pilniejszą zwraca na siebie uwagę naszą, że nie dotyczy ono ludności rolniczej, w której kolonizacyjne dążności przejawiać się muszą, bo z naturalnych płyną źródeł, — ale ogarnia szerokie koła inteligencyi.

Wychodztwo do Rosyi w ostatnich czasach doszło do przerażających rozmiarów i coraz to więcej ofiar pochłania, pchając całe zastępy ludzi, wykształconych zawodowo, na dalekie kresy olbrzymiego państwa, bądź na czasowy tam pobyt, bądź też na zupełne i wieczne osiedlenie.

Normalny przyrost ludności w obrębie zamkniętego terytoryum jest źródłem emigracyi i doskonale tłómaczy takie fakty, jak rozrost kolonii niemieckich w Ameryce i Afry-

ce, a w części nawet i takie, jak emigracya ludu polskiego do Brazylii.

W powyższych wypadkach opuszcza kraj ojczysty ludność, przedstawiająca najczęściej siłę jedynie fizyczną, którą na innym rynku spienięża częstokroć na lepszych, korzystniejszych dla siebie warunkach.

Emigracya tego rodzaju nie wyrządza krzywdy społeczeństwu, przeciwnie, reguluje ona jego stosunki społeczne, zmniejsza nędzę i może dać początek nowym ogniskom kultury narodowej. Mówimy tu naturalnie o emigracyi normalnej, nie wywoływanej sztucznie.

Ledwie nieznaczną część wychodźców z Królestwa polskiego w początkach bieżącego dziesięciolecia, t. j. w czasie, kiedy ruch wychodźczy kulminacyjnego dosięgał punktu, tworzyli ludzie, zmuszeni do wędrówki za ocean warunkami ekonomicznemi, graniczącym z nędzą bytem na zagonie ziemi rodzinnej, większość zaś stanowili względnie zasobni gospodarze, wyzbywający się swych posiadłości pod wpływem agentów emigracyjnych i niezdolni oprzeć się sile tego prądu, który na falach swych unosił tysiące ludu — tak często na zgubę niechybną, na los cięższy i twardszy daleko, niżeli w ojczyźnie.

Godzimy się więc z tego rodzaju wychodztwem, o ile dokonywa się ono samo przez się w granicach normalnych a nie jest wytworem sztucznym, owocem szalbierskiej agitacyi, interesem, na którym tracą dwie strony: społeczeństwo, zostające w kraju i lud emigrujący, a zyskuje trzecia — w osobach przedstawicieli najniemoralniejszej afery.

O wiele inaczej atoli przedstawia się ta skala, którą zastósować musimy do wychodztwa inteligencyi, wychodztwa skierowanego w najmniej pożądaną stronę, dokonywanego w najmniej sympatycznych warunkach i zaznaczającego się tylko ujemnie, bo przynoszącego faktyczną i wielką szkodę ogólnopolskim interesom, sprawom całego, tak dziś rozbitego i rozczłonkowanego narodu.

Że emigracya do Rosyi istnieje, że rozwija się i wzrasta stopniowo, co do tego niema najmniejszej wątpliwości. W Rosyi europejskiej niema powiatowego miasta, w którem nie znajdowałoby się kilkunastu, lub przynajmniej kilku polaków. To samo da się powiedzieć o Syberyi, z wyjątkiem może jej północno-wschodniej części, — tych olbrzymich, słabo zaludnionych obszarów, gdzie odległość między jedną a drugą osadą ludzką wynosi setki wiorst. Zresztą w niedługim czasie, projektowany obecnie jednodniowy spis ludności wykaże nam, aczkolwiek ze względną dokładnością, cyfrę, jakiej dosięga żywioł polski, rozrzucony na całej przestrzeni państwa rosyjskiego.

Rozpatrując przyczyny, które wywołują tak znaczną emigracyę, dochodzimy do wniosku, że są one wytworem panujących w zaborze rosyjskiem stosunków, nieodzownym i koniecznym skutkiem tego ucisku, tej presyi, jaką tam rząd bez przerwy na społeczeństwo polskie wywiera.

Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że wyższy urzędnik-Polak w Królestwie, na Litwie i Rusi należy do postaci mitycznych; wprawdzie po rozmaitych biurach można jeszcze spotkać urzędników-polaków, ale wszyscy oni zajmują stanowiska bardzo podrzędne, stoją na najniższych szczeblach tej hierarchii, której średnie i najwyższe zajmują przybysze z cesarstwa.

W obec tego w granicach Polski karyera urzędnicza, zarówno w administracyi, jak w sądownictwie i w dykasteryach, podlegających ministerstwu finansów, dla Polaka nie istnieje. Natomiast rząd bardzo chętnie ofiaruje posady dobrze płatne — w głębi państwa i na Syberyi — Polakom, posiadającym średnie i wyższe wykształcenie.

Polityka wewnętrzna ostatniego panowania umiała nawet wyzyskać Polaków, jako element, nadający się do szerzenia języka rosyjskiego na innych kresach państwa. Na Kaukazie i w krajach nadbałtyckich jest dziś przeważna ilość Polaków, zajmujących nawet wybitne stanowiska, którzy nie znając języków miejscowych z musu posługują się językiem rosyjskim, nie mówiąc o tych, którzy, sprzedawszy się rządowi, świadomie pracują w kierunku przezeń wskazanym, szerząc gorliwie rusyfikacyę.

Uznając sam fakt emigracyi, oraz godząc się na to, że wywołują go poważne i nie dające się na razie usunąć przyczyny, zastanowimy się nad szkodą, jaką to wychodztwo społeczeństwu polskiemu wyrządza.

Z małemi wyjątkami — każdego wyjeżdżającego do Rosyi Polaka można uważać za *straconą placówkę*. Strata jest tem większa, tem dotkliwsza, im wyżej umysłowo i moralnie stoi człowiek opuszczający kraj rodzinny a opuszczają go przedewszystkiem inżynierowie, prawnicy, lekarze, mechanicy fabryczni i t. p. — słowem inteligencya.

W innych warunkach wszyscy ci ludzie, zajmując odpowiednie stanowiska, byliby dla społeczeństwa swojego źródłem niezaprzeczonych i dużych korzyści, płynących zawsze z rzetelnej i sumiennej pracy w jakimkolwiekbądź kierunku. Tymczasem oddaleni o tysiące wiorst od kraju, tracą z nim łączność, tracą sposobność do czynu i działania śród swoich, martwieją i wyrodnieją pod wpływem otoczenia i giną raz na zawsze dla sprawy narodowej.

Młody urzędnik, sędzia, prokurator, inżynier, lekarz wreszcie, przyjeżdża zazwyczaj do Rosyi i obejmuje posadę w tej nadziei, z tem często nawet silnem przekonaniem, że przetrwa tu kilka, najwyżej kilkanaście lat, w ciągu których przy oszczędnem życiu zdoła skapitalizować część dochodów, poczem wróci do kraju, jako jednostka, mająca materyalną podstawę bytu, a więc — nieskrępowana, niezależna, mogąca dowolnie w obranym kierunku pracować...

Dzieje się jednak inaczej nieco. Zamiary te pod wpływem rozmaitych czynników powoli topnieją, nikną, aż wreszcie zastępuje je ciekawa teorya życiowa oparta na wzniosłych podwalinach ugodowej polityki. Zaczyna się to wszystko od... nostalgii. To uczucie jest tak powszechne, że ledwie bardzo nieliczne wyjątki umieją się z pod jego władzy wyłamać, lub też zwalczyć je w zarodku. Zamiast powrotu do kraju doprowadza ono zwykle do tego, że się zaczyna chętniej bywać w domach rosyjskich, gdzie dotychczas było obco, nieswojo, zawiera się stosunki towarzyskie, szuka rozrywek, słowem, wchodzi w życie, gdzie się spotyka nieraz zupełnie sympatycznych i rozumnych, pokrewnych duchem ludzi, pod których bezpośrednim wpływem człowiek pozbywa się owego antagonizmu plemiennego, z jakim przyjechał.

Ten początek jest najtrudniejszy. Potem wszystko już idzie gładko, *rozsądek* stacza walną bitwę z „*marzeniami*", zwycięża i powoduje szybki rozkład idealniejszych pierwiastków duszy, zastępując je najczystszej wody egoizmem, dążeniem do karyery. Wobec tego nie można się dziwić, że nawet małżeństwa mieszane nie należą w Rosyi do faktów rzadkich, że są one na porządku dziennym i coraz więcej zwolenników znajdują. Ci — giną bezpowrotnie, a przynosząc uszczerbek sprawie ojczystej, zwiększają w dodatku szeregi nieprzyjaciół, albo wytwarzają zastępy ludzi biernych i obojętnych na wszystko, bezbarwnych zupełnie. Jednostki takie, jeżeli nie zaraz, to w następnem pokoleniu wynarodowiają się doszczętnie i toną w morzu rosyjskiem.

Psychologiczne pobudki tej metamorfozy duchowej, jaka się w nich dokonywa, stają się zrozumiałemi dopiero wówczas, gdy w rachubę bierzemy zachowanie się Rosyan względem przybyszów „z zachodu".

Rosyanie tej sfery, z którą z konieczności stosunki zawrzeć musi Polak-urzędnik, mają pociąg do przdstawicieli wyższej cywilizacyi. Postępowanie ich z Polakami jest tak dalece ujmujące i w większości wypadków tak po barbarzyńsku szczerą tchnie przyjaźnią, że budzi z początku zdziwienie, potem zupełne uznanie; z biegiem czasu na gruncie tym wzrasta niekłamana sympatya, której dobrobyt materyalny i filisterskie zadowolenie z życia i jego warunków pozwalają coraz głębiej zapuszczać korzenie, utrwalać się.

Szkoda, wyrządzana przez tych emigrantów społeczeństwu polskiemu, nie ogranicza się na tem, że uszczuplają oni szeregi inteligencyi w kraju, ma ona daleko szersze i większe znaczenie ujemne ze względu na to, że wychodźcy, utrzymując stosunki z ojczyzną, krzewią pośród jej obywateli, zwłaszcza pośród młodzieży, zasady zupełnej uległości i rzucają ziarno dzisiejszej polityki ugodowej, wstrętnej i poniżającej; oddziaływanie zaś w tym kierunku jest w skutkach swoich stokroć gorsze, niżeli zupełne zerwanie z ziemią rodzinną i wyrzeczenie się wszystkiego, co swoje.

Tak tedy kwestya wychodztwa naszej inteligencyi na wschód jest kwestyą bolącą i smutną, tem bardziej, że ruch emigracyjny skierowany w tę stronę rośnie i w niedalekiej przyszłości stokroć groźniejszych rozmiarów dosięgnąć może.

Budowa kolei syberyjskiej, monopol wódczany, reforma sądowa we wschodnich guberniach Rosyi, otwarcie kilku nowych filii Banku państwa — wszystko to pochłonęło w ostatnich czasach masę naszych ludzi, a i nadal chłonąć będzie.

Jak złemu zaradzić?

Na pytanie powyższe trudno jest dać stanowczą odpowiedź, póki polityczny i społeczny nasz rozwój będzie tamowany przez absolutyzm petersburski; w takich warunkach — z natury rzeczy musi on nienaturalnemi chodzić drogami i padać ofiarą stosunków. Tymczasem jednak musimy wyznać, że wydaje nam się rzeczą całkiem odpowiednią, ażeby chociaż część wychodzącej do Rosyi inteligencyi naszej zwróciła baczniejszą uwagę na Amerykę, gdzie praca w koloniach polskich, zwłaszcza w brazylijskim stanie Parana, nie będzie bezowocną.

Inteligencya polska w Ameryce ma szerokie i wdzięczne pole do działania, i ci, którzy dziś dla obcych pracują, mogą tam wielkie korzyści własnemu przynieść narodowi.

(Przegl. Wszechp.). *Zd. Wł.*



JERZY BRANDES.



DWÓR WIEJSKI
w Królestwie Polskiem.
(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

VII.

Odwiedził mię dzisiaj ksiądz tutejszy i był tak uprzejmym, że przyniósł mi do przejrzenia litografowany komentaryusz do Pisma św., z którego go uczono w seminaryum w Rzymie. Książka pisaną jest po łacinie przez jakiegoś Jezuitę, nie pozbawionego rozumu i przenikliwości, ale który naturalnie nie opiera się na naukowych podstawach, gdyż chodzi mu przedewszystkiem o poparcie dowodzeniami twierdzeń pisma św. Nie ma jej wcale w handlu, to też zajmującem było dla mnie widzieć podręcznik,

według którego udzielaną jest nauka w seminaryach. Jakkolwiek młody, ksiądz U. jest zawiedziony w swoich oczekiwaniach i uważa to za wyrządzoną sobie krzywdę i niesprawiedliwość, że nie został powołanym na nauczyciela szkoły wychowawczej księży w Warszawie, lecz osadzonym na parafii w wiejskim kościółku. Pójdzie on jednak wyżej, prędzej lub później, gdyż ma na to dość rozwinięcia i inteligencyi, kto wie nawet... czy nie za dużo?

Mówiliśmy o tem i o owem, mianowicie o pismach i prasie tutejszej, z powodu pokazywanych mi wczoraj najświeższych artykułów: rozprawki Kazimierza Zalewskiego o pochwalnej ocenie W. Sardou przez Henryka Becque w Figarze i rzeczy Bogusławskiego o feljetonie Sarcey'a p. t. „o pożytku krytyki". Całe to posiłkowanie się abstrakcyjną estetyką i sięganie po przestarzałe tematy ludzi zdolnych i mogących przynieść prawdziwy pożytek jest rezultatem ucisku, jakiemu naród podlega. Złościliśmy się na pozbawioną sensu administracyę tutejszą; codziennie np. posyła się po listy do odległego o kilkanaście wiorst miasteczka, a naczelnik nie chce nigdy oddać rekomendowanego listu posłańcowi, tylko przysyła mi uwiadomienie, że takowy w jego rękach się znajduje, bym się sam zgłosił po niego. Na moje zażalenie i skargę z tego powodu odpowiedział: „Nikt dotąd z N.....ic nie był tu, *by się poznać ze mną*". Taksa za przyniesienie telegramu wynosi 2 rs. 20 kop., czyli więcej niż samo jego wysłanie kosztuje, a przynoszą je w dzień i w nocy nieustannie. W dzień imienin pani domu, mąż jej zapłacił bardzo znaczną sumę za telegramy, których treść była niemal bez zmiany: „serdeczne życzenia". Tak gawędząc wyszliśmy sobie na pole i usiedli pod wysokim drzewem, w którego liściach wiatr szumiał jakoś żałośnie, i rozmowa nasza, może pod wpływem tych dźwięków, przybrała poważniejszy charakter. Z małych przykrości codziennych przeszliśmy do wielkiego męczeństwa całego narodu, ze skrępowania i braku swobody osobistej, do ogólnego uciemiężenia i pozbawienia praw wszelkich, do tej wielkiej krzywdy historycznej, która się stała przed stu laty i dziś rodzi wciąż gorzkie i zatrute owoce.

Stary feldmarszałek Moltke powiedział jednego razu do Kościelskiego, iż w pewnej książce o Polsce, którą czytał, podobało mu się najbardziej następujące zdanie; „Nie kocha się Polski tak jak się kocha Francyę, Niemcy, lub Anglią, ale tak jak się uwielbia swobodę". Szczególne zdanie w ustach człowieka, któregoby chyba najmniej można było posądzić o miłowanie swobody. Co do mnie, czuję, iż właśnie pogląd wyrażony w tych słowach był podstawą mego zapatrywania się i sympatyi do Polski. Kto bezgranicznie, fanatycznie niemal kocha wolność i swobodę, z konieczności musi dać miejsce w swem sercu najbardziej uciśnionemu z narodów Europy, przebacza mu jego błędy i nie zatrzymuje się nad niemi, a zalety jego i wzniosłe popędy chwytają go za serce.

Cóż pomoże jednak szukanie plusquamperfectum? Niema człowieka z rozwiniętym umysłem psychologicznym, coby nie widział tych właściwości, które stanowią najsłabszą stronę Polaków, a które odsunęły ich od wszelkiej działalności i publicznego życia wypielęgnowało. To, co nieprzyjaciele Polaków nazywają fałszem i dwulicowością, a co niemi nie jest właściwie, lecz raczej życiem w jakichś sztucznych, nierealnych warunkach, także z tego źródła pochodzi. Mają pewną skłonność do wmawiania w innych i w samych siebie rzeczy, nic mających wiele wspólnego z rzeczywistością; nie da się to bynajmniej porównać z brutalnem fantazyowaniem mieszkańca południowej Francyi, lecz jest oszukiwaniem samych siebie przez opieranie życia bardziej na słowach niż na istotnych faktach. Poznałem tu redaktora, który nic napisał nigdy ani jednego artykułu i zaledwie, że czytuje swoje pismo, za którego kierownika nie może być wcale uważanym, a przecież sprawia mu niezmierną przyjemność, gdy go tak tytułują, i najszczerzej nie chcąc bynajmniej kłamać, mówi o nawale pracy redaktorskiej, ustawicznych walkach z cenzurą itp.

Już dwanaście lat upływa, jak grupa gorących patryotów zbiera się najregularniej co dwa tygodnie, by wynaleźć środki na wyswobodzenie ojczyzny i ani zauważyła może nawet dotąd, że, pomimo ich wysiłków, rzeczy jak stały tak stoją.

Polacy — rzekłem do księdza — są może jedynym narodem, który nie ma pretensyi uważania zdrowego, zimnego rozsądku i logiki za swój osobisty przywilej. Francuzi, Niemcy, Anglicy, Włosi i Duńczycy są najmocniej przekonani, że rozum ma siedlisko u nich, jedni tylko Polacy tego nie myślą. Wiesz pan zanadto dobrze niestety, z historyi, jak nie umieli nigdy wyciągnąć dla siebie praktycznych korzyści z najrozmaitszych sytuacyi politycznych; przyznają się jednak chętnie do tego.

— Szczególnem jest — odpowiedział mi na to — że nasze kobiety są pod tym względem odrębne od mężczyzn, nie są one bynajmniej marzycielkami. Tu na wsi kobieta stoi nisko pod względem intelektualnem, włościanki żyją w stanie mocno do pierwotnej natury zbliżonym i dopóki są niezamężne, używają swobody w całem znaczeniu tego słowa, tembardziej, iż powiększenie rodziny witanem jest z zadowoleniem przez ich najbliższe otoczenie. (?) Każde dziecko to przecież kapitał, z ktorego się ciągnie zyski od szóstego roku jego życia. Dopiero po zamążpójściu dziewczyna uważa się związaną, gdyż honor jej jest zarazem honorem jej męża.

— O ile mogłem zauważyć — dodałem — to kobiety z klasy wyższej mają tu dużo panowania nad sobą, w gruncie nie wiele temperamentu. Charakterystyka ich chłodu i obojętności, jaką kiedyś Edmont About skreślił w wierszach, gdy napróżno kochał się w Polce, stosuje się do nich wybornie. Jakkolwiek dziwnie to brzmi, Angielka Maud, w powieści Kosmopolis Bourgeta, spokojna, o gorącem sercu i żywych uczuciach kobieta, którą jednak żadne wzruszenie niezdolne jest wyprowadzić z równowagi, jest typem, który według mnie nierzadko spotykamy w Polsce, jej mąż zaś, noszący przekręcone nazwisko Gorka (miało być zapewne Górski) w swej niestałości i łatwo przechodzących gwałtownych uczuciach, jest prawdziwym Polakiem. — Z toku rozmowy dowiedziałem się, iż jednak częściej tu, niż u nas na północy, panie z wyższego towarzystwa dają się pociągnąć namiętnościom na pochyłość prowadzącą do demimondu lub przestępstwa. Nie dawniej jak parę lat temu, była aktorka, matka znanego i zdolnego malarza Wywiórskiego, została zabitą uderzeniem młotka przez damę, należącą do najlepszych kół towarzyskich Warszawy. Dama ta prowadziła życie nieuczciwe i miała kochanka, który wydawał i potrzebował wciąż dużo pieniędzy. Jej mąż nie domyślił się dotąd przyczyny tego strasznego morderstwa w celu grabieży, utrzymywał do końca, iż popełniła tę zbrodnię z miłości dla niego, przynosił jej bukiety do więzienia, a skazaną i odjeżdżającą do Syberyi żegnał wraz z dziećmi na dworcu, zasypując ją kwiatami na drogę. Gdy która młoda kobieta wchodzi tu do półświatka, wina to po większej części jej matki. Dużo jest matek ładnych córek, szczególnie we wyższem mieszczaństwie, które marząc dla nich o świetnej karyerze, nie mogą się pogodzić z tem, by te młode piękności zmarnowały się i nie zabłysły tak, jakby to mogły uczynić w jednej ze stolic świata. Spieniężają więc wszystko co mogą i wyjeżdżają do Paryża. Zaopatrzone w niewielką sumkę, mniej-więcej jakieś kilkadziesiąt tysięcy franków, urządzają się tam z polską lekkomyślnością, tak wykwintnie, że pierwszy rok pochłania więcej niż połowę całego funduszu, natomiast zdobywają szerokie koło znajomości tego rodzaju, jakie są zawsze dla nowych przybyszów otwarte. W pierwszym roku córki są otoczone, w końcu drugiego kasa prawie pusta, i najczęściej kończy się na tem, że dobrze wychowana, obdarzona żywemi uczuciami młoda panienka, nie widzi przed sobą innego wyjścia, jak przyjęcie ofiarowanej sobie opieki i pomocy jakiegoś przyjaciela. Gdy ten się znuży, trafia się inny i właściwie nie zepsucie dziewczyny, lecz fałszywa, wytworzona przez matkę, sytuacya jest wszystkiego przyczyną. Bohaterka znanej, pełnej wartości powieści Pawła Bonnetin „Passagere" jest doskonałym obrazem takiej wykolejonej a nie upadłej polskiej kobiety. (Brandes podnosi tu znowu niesłusznie wyjątkowe wypadki do znaczenia typowości. Przyp. Redakcyi.)

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z estrady i sceny.

(Występy Józefa Kotarbińskiego: Hamlet i Uriel Acosta.)

W przeddzień występu Józefa Kotarbińskiego w roli Hamleta, wygłosił p. Władysław Łebiński w „Towarzystwie Przyjaciół Nauk" odczyt publiczny p. t. „Tragedya przeczuć, nowe przyczynki do Hamletologii". Etykieta była dla mnie poniekąd zagadką, — więc spragniony jej rozwiązania spieszyłem pełen niespokojnej ciekawości do „akademii poznańskiej", starając się stłumić głuche, nieco „Hamletowskie przeczucia". Pierwszą część rozprawy stanowiło suche, lecz jasne streszczenie cennej pracy Matlakowskiego, — drugą orginalny pogląd prelegenta na intencye Szekspira i charakter mitycznego królewicza Danii. „Jedni — mówił mniejwięcej p. Władysław Łebiński — upatrywali w utworze angielskiego mistrza psychologię pesymizmu, inni przypisywali mu zamiar uscenizowania choroby woli, psychologii niedołęstwa, — ja nowe stawiam twierdzenie: Hamlet to tragedya przeczuć. Smutne przeczucia, dręczące Hamleta, są jedynem kluczem tej psychologicznej zagadki, — intencyą Szekspira było uwydatnić działanie posępnego jasnowidzenia na charakter i działalność ludzką." Takie odkrycie zwiastował prelegent. Nie wchodząc w dalsze nader wątpliwe teorye p. Łebińskiego o dominującym wpływie Szekspira na Sienkiewicza, czuję się zniewolonym przy tej niby nowej Hamletologii położyć znak zapytania. Przedewszystkiem orginalność owego wynalazku p. t. „Tragedya przeczuć" wymaga o tyle ograniczenia, że najwybitniejsi Hamletolodzy nie wykluczali bynajmniej z analizy swojej dręczących przeczuć w roli psychologicznego czynnika, — orginalnem jest tylko znaczenie, jakie p. Łebiński czynnikowi temu przypisuje, orginalnem wyniesienie „przeczuć" do znaczenia wyłącznej sprężyny, wyłącznego źródła Hamletowskich wahań. Twierdzenie to nie wytrzymuje krytyki i zachwiać nie może w niczem świetnej interpretacyi Spasowicza, upatrującego w Hamlecie nie tragedyę przeczuć, lecz tragedyę chorej woli, czyli niedołęstwa, — a

już na dowcip zakrawa zdanie prelegenta, że gdyby Szekspir zamierzał uscenizować „niedołęztwo“ to byłby stworzył komedyę, lecz nigdy tragedyę. Przeczucia, to tylko j e d e n z m o t y w ó w, paraliżujących energię duńskiego królewicza, to tylko j e d n a z k o n s e k w e n c y i jego melancholii, pesymizmu i histeryi. Nie czarnowidztwo jedynie paraliżuje jego wolę i czyn, lecz w pierwszym rzędzie pociąg do bezustannej analizy, do mikroskopowania każdego zamiaru, obliczania wszystkich ewentualności i każdego „pro“ i „contra“, do szukania i lubowania się w skrupułach i skrupulikach. A potem ta właściwa wszystkim histerykom p o z a, to rozmiłowanie w intrygowaniu własną osobą otoczenia swego, ten gust do bawienia się ludźmi jak piłką, drażnienia ich ciekawości, budzenia wokoło siebie niepokoju, igrania z czynem, zanim go się spełni. W trzecim dopiero rzędzie możnaby obok innych jeszcze motywów Hamletowskiej choroby woli postawić właściwe wszystkim melancholikom przeczucia chmurne, bojaźń przed złośliwością losu, strach przed jutrem, przed nieobliczoną potęgą przypadku. Tak Szekspir uzasadnia postępowanie bohatera swojego i w takiej interpretacyi psychologii Hamleta tkwi nietylko wyjaśnienie jego bezustannych wahań, lecz tłomaczenie jego nierówności i niekonsekwencyi, jego niezręcznie odegranej komedyi, jego demaskowanie się wbrew pierwotnemu zamiarowi, by tajemnicę swoją szczelną otoczyć zasłoną.

To też owa „tragedya przeczuć“ odkryta przez p. Łebińskiego nie zajmie poczesnego miejsca w współczesnej Hamletologii, a poniedziałkowa gra Kotarbińskiego nie zdradzała bynajmniej, aby znakomity artysta w teoryach poznańskiego prelegenta znalazł dyrektywę dla interpretacyi swojej. Hamlet Kotarbińskiego to melancholik o nerwach wrażliwych i histeryk, lubujący się w intrydze i symulacyi. Tak pojął artysta psychologiczny fundament Szekspirowskiego bohatera i zgłębiwszy okiem bystrego myśliciela wszystkie odcienia, tony i półtony, kreski i plamki tej chorobliwej natury, stworzył typ mistrzowski, odsłaniając łańcuch przyczyn i skutków wielkiej Hamletowskiej tragedyi. Znam artystów, którzy w postać Hamleta wsączyli więcej siły i temperamentu, ale nie znam żadnego, któryby z takim pietyzmem każdą myśl i każdą intencyę poety widzom prezentował, któryby stworzył typ tak psychologicznie uzasadniony i konsekwentny. Może ten Hamlet Kotarbińskiego był zanadto literacki, może myślący interpretator zdusił tam miejscami artystę, może gdzieniegdzie pieścił się nadto szczegółami z pedantyzmem książkowego komentatora, ale na ogół kreacya gościa naszego miała duszę i nerwy i krew. Jedną mianowicie stronę Hamletowskiej istoty starał się artysta uwydatnić silniej niż ktorykolwiek z przedstawicieli tej roli, — mówię tu o arystokratyzmie duńskiego księcia. Hamlet Kotarbińskiego to wytworny patrycyusz o nerwach wydelikaconych, i niezrównanej „gentilezzy“. Jak on subtelnie markował pogardę swoją dla plebejuszowskiej pospolitości, jak nieuchwytną ironią akcentował każde słowo, gdy prześwidrował fałsz maskowany w otoczeniu swojem, z jaką uprzejmą wyniosłością umiał przemawiać do towarzyszy swoich, jak poufałość nawet zaprawiał protekcyonalnością pewną, jak wreszcie z najsłodszym uśmiechem i z galanteryą wielkiego pana dawał odprawę natrętom, — to w każdym calu znamionowało prawdziwie arystokratyczną naturę wytwornego magnata.

Jeżeli jednak ten Hamlet jako całość był niewątpliwie mistrzowską kreacyą, to przecież w jego tysiącznych kreskach i kreseczkach literackich utonęło gdzieniegdzie życie i dla tego, gdybym miał stanąć wobec pytania: „Hamlet czy Uriel? nie wahałbym się ostatniemu oddać palmy pierwszeństwa. Wprawdzie zadanie było tu łatwiejsze, wprawdzie i tu aktor zdradzał literata, ale tam tylko, gdzie filozoficzna zawartość roli niezbędnie tego wymagała, — po za tem Uriel Kotarbińskiego był drgającem, nie przefilozofowanem życiem, uniesieniem, cierpieniem. A głos artysty grał muzyką taką, jakiej scena nasza dawno nie słyszała. Czasem pieściwy jak szmer strumyka lub łkanie wiatru wśród liści, czasem jak grom potężny, czasem rozegrany w zgrzyt rozpaczliwy, czasem szorstki, ochrypły, wyszarpany. Widziałem na scenie poznańskiej kilku Urielów, lecz żaden z nich nie władał takiem czarnoksięstwem tonów. Jedni na nutę płaczliwą stroili całą deklamacyę swoją i w chwilach burzy napróżno w gardle szukali piorunów, inni w piersiowym szepcie grę pogrążali, subtelni lecz bezsilni, — Kotarbiński natomiast ma nieprzebraną siłę, giętkość i śpiewność w organie swoim, a nadto umie wierszem mówić tak pięknie jak żaden z artystów polskich. Zresztą zrozumiał dobrze nasz gość znakomity, że lubo bohater Gutzkowa nie wyleczył się jeszcze zupełnie z niemocy romantyzmu, to przecież nie jest również, jak niektórzy krytycy twierdzili — rozchwianym marzycielem. To dąb toczony niewątpliwie robakiem „Weltschmerzu“, ale zawsze d ą b, nie spruchniała wierzba, jak sądził Arnold Ruge i Julian Schmidt. Gra Kotarbińskiego pokrewną jest poniekąd interpretacyi Gottschalla i dla tego z jego Uriela bije siła wielka, nie roztopiona w mollowych tonach lecz rogata i skalista. Jedno tylko raziło mnie w obu kreacyach krakowskiego artysty: pewna akademickość ruchów, pewna patetyczność i szerokość w mimice. Realistyczna piła wyświadczyłaby tu właśnie Kotarbińskiemu znakomite usługi. *W. R.*

NA WYŁOMIE.

(Odezwa „czytelni ludowych“. — Zgaszeni i wystudzeni. — Duszenie krytyki. — Tchórze i mamuty.)

Z rozpaczliwą odezwą zwróciło się do społeczeństwa nasze Towarzystwo czytelni ludowych. Kasa jego stoi pustkami, kredyt u księgarzy wyczerpany, zimowe wieczory nadchodzą, głos ludu woła o nowe książki, a nie ma za co ich kupić. Smutne wołanie, smutniejsze dziś, niż kiedykolwiek, bo gdy w posępnych mrokach stuletniej żałoby, zdawało nam się, że gdzieś w oddali błyska światło wielkie, któremu imię „lud oświecony“, dziś światło to grozi stłumieniem i bledną gwiazdy nadziei. A jeżeli duchy tych, co w długiej tragedyi narodu życie za ojczyznę kładli, u bram nowego stulecia staną i spytają: Z jakim dorobkiem, z jakim funduszem sił rozbudzonych i z jakim zasobem energii i poświęcenia przestępujemy próg wiekowej niedoli? — cóż im odpowiemy!

Zgaszone społeczeństwo! Pono to słowo ktoś rzucił nam w oczy, a odezwa czytelni zdaje się mówić zalęknionym głosem, że fałszem nie jest ten okrzyk. Spojrzyjmy tylko w około i wpatrujmy się pilnie w oblicze inteligencyi miejskiej i wiejskiej. Na mnie wywiera ona wrażenie takie, jakby starość dłoń zimną położyła na niej i stłumiła wszystkie ognie młodzieńcze; snujemy się po świecie senni, apatyczni, zgaszeni, a chociaż spełniamy pewne obowiązki narodowo, budujemy wały ochronne, powtarzamy hasła gorące, — czynimy to wszystko bez entuzyazmu, bez ognia, bez całej duszy i całego serca. Ot! odrabia się pańszczyznę dysząc, przystając i w starczem zniechęceniu załamując ręce. I tak ta robota się wlecze, popychana przez pracowników ospałych, z których jeden się na drugiego ogląda i rad gdy rękę niedbale położy na taczce, mówiąc z uśmiechem: „Pcham, pcham i wytężam siły“. Ci, co w grobie legli, może zanadto w duszach swoich nosili płomieni i w pożar nieraz iskry rozdmuchali, — ale milszą mi tysiąc razy ta umarłych entuzyastów drużyna, niż wy zimne, wygodne i egoistyczne episjerów społeczeństwo lub anemiczne epikurejskie o chorych nerwach i wygasłych sercach dekadentów filgrany.

Nie przeczę, że w tem minionem stuleciu narodowej niedoli ostrożność nasza, zabiegliwość, praca i oszczędność rozwinęły się na ogół pomyślnie, ale trudno zataić, że poczucie obowiązków publicznych, zapał dla sprawy nie wchodzącej w zakres osobistych interesów, e n e r g i a filantropii i patryotyzmu tępieć zaczyna. Starych i młodych starców coraz więcej, a choć niekiedy jakieś grzmiące „Gore“ zelektryzuje nas, porwie i siły uśpione rozbudzi, to wszystko po chwili znów się do snu układa i przez sen tylko wyrzuca wielkie słowa: Ojczyzna, obowiązek, oświata i t. d. Snu tego się lękam i z snem toczę walkę od początku istnienia Przeglądu, a skarga Czytelni to wtór potężny do naszych dzwonów na trwogę.

Jeżeli jednak szukamy winnych i społeczeństwo wystudzone przed sąd pozywamy, to w gronie oskarżonych stawiamy również zarząd „Towarzystwa“ i jego jańczarską straż bezpieczeństwa. Smutną tę sprawę poruszałem już kilkakrotnie, lecz warto ją przypomnieć dziś właśnie, gdy kierownicy „Czytelni“ stają przed publicznością z głośnym wyrzutem i rozpaczliwem słowem „Giniemy“. Nic łatwiejszego jak przed trybunał krytyki pozwać społeczeństwo i krzyknąć mu nad uchem: „Oto winowajca, który na śmierć głodową nas skazuje“, — ale uderzcie się w piersi, panowie kierownicy, i zapytajcie, czy istotnie wytężyliście wszystkie siły, aby rozbudzić śpiącą publiczność, zainteresować ją sprawą oświaty, spotęgować pracę i ofiarność. Walne zebrania, które raz jeden na rok zwołujcie, dostarczają w tym względzie nie mało materyału dowodowego. Raz jeden na rok! a mimo to w sprawozdaniach waszych skąpicie treści poglądowej, skąpicie pokarmu dla dyskusyi publicznej, — gdy zaś mimo to ktoś postara się o materyał dla żywej wymiany opinii, wnet wołacie głosem przerażonym że „ginie ład i porządek“, że hydra buntu głowę podnosi, że naszym „znanym, zasłużonym, w pracy posiwiałym“ mężom-kierownikom niedorostki rzucają rękawicę. Niech tylko w tej wielkiej komedyi apatycznej ciszy i kiwania głową, którą mienicie „Walnem zebraniem Towarzystwa Czytelni ludowych“ zjawi się ktokolwiek z słowem najlżejszej krytyki, wy w mgnieniu oka stawiacie wnioski o zamknięcie dyskusyi i stereotypowe „wotum zaufania“ dla nietykalnego zarządu. Przypomnijcie sobie tylko ów pamiętny fakt z ostatniego zebrania, ów gwałt zadany wolnemu słowu, gdy jeden jedyny ton polemiczny, ton krytyki myślącej, owianej serdeczną miłością sprawy publicznej, zjawił się w bezdusznem milczeniu. Wstaje młody adwokat i oparty na dowodach mówi jak brat do braci, jak ten co razem z wami pragnie pracować, razem z wami kocha lud i oświatę, że należałoby unikać wprowadzania do Czytelni ludowych francuskich romansów, obcych ludowi naszemu duchem, pojęciami, typami, że lepszą jest czysta, rodzima, choć mniej artystycznie przyprawiona

strawa, od nowellistycznych produktów bruku paryskiego — a wy? Szmer niezadowolenia budzi się przy wielkim ołtarzu, arcykapłani „ładu i porządku“ ruszają się niespokojnie na krzesłach swoich, a wreszcie zrywa się jeden z gerontów i mówi: „Stawiam wniosek o zamknięcie dyskusyi, a jako odpowiedź na krytyczną uwagę preopinanta drugi wniosek o wotum zaufania dla Zarządu.“ Przyklaśnięto, uchwalono, możemy spać dalej spokojnie.

Więc najlżejsza krytyka równa się potępieniu kierującej ręki, więc najuczciwsza rada jest ubliżeniem dla prezesów, sekretarzów, radnych i cenzorów — więc po co nas tam wzywacie panowie? Jest to terotyzm tego rodzaju, że musiałbym przekroczyć granice parlamentaryzmu, chcąc go dosadnio scharakteryzować. lecz wiem, że w razie powtórzenia tej marnej komedyi znajdą się niewątpliwie tacy, którzy dusiciели wolnego słowa nazwą po imieniu, wiem, że to ubieranie się w tiarę nieomylności, to umałoletnianie członków „Towarzystwa“ i wreszcie pewne zakulisowe sprężyny zniechęcają ludzi do „Czytelni“ i szkodę sprawie publicznej gotują.

A jest jeszcze trzeci i czwarty winowajca upadku tej instytucyi, którą do najwznioślejszych i najdonioślejszych w narodowem życiu naszem zaliczam. Odezwa mówi, że jednemu na imię: „Strach“, — ten strach grasujący coraz natrętniej w społeczeństwie naszem, strach karmiony starannie przez lojalną prasę, strach, co szmeru liści się lęka i zębami dzwoni, gdy pikelhaubę pruską zobaczy, — strach dyktujący bibliotekarzom „Czytelni ludowych“ zawieszenie czynności, aby nie zmarszczyć czoła landratów, komisarzy i żandarmów.

Wreszcie wypowiada „Odezwa“ dziwne słowo: *„Stwierdziliśmy, że wielu niechętnem okiem patrzy na czytelnie jako na źródła zbytecznej oświaty“.* Jakto! Więc nie wymarł jeszcze ten ród Mamutów, dla których oświata równa się truciźnie, dynamitowi, głowni grożącej pożogą, a przynajmniej fałszywym apetytem, zbytecznym balastom? Jakto? Więc ten ród Mamutów licznym jest jeszcze, jak mówi odezwa? Snać zarząd czytelni ludowych zebrał w tej mierze ciekawe doświadczenia, jeżeli mimo panujących u nas tendencyi przysypywania pudrem wzajemnej adoracyi każdej śmieszności, tak odważnie piętnuje troglodytyzm Księstwa. To piękny materyał do publicznej dyskusyi, więc niechaj Czytelnie ludowe nie kryją go przed okiem członków swoich w ogle ogólników, lecz wskażą wyraźnie miejsca pleśnią pokryte. Niech wre polemika, która życie rodzi, choćby ostrze jej dotknąć miało najzasłużeńszych bojowników wielkiego bractwa „ładu i porządku“. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

* **Nauka w domu.** Przewodnik dla wychowawców, napisała Aniela Szyc. Warszawa. Nakładem Arcta.

Brak fachowego wykształcenia pedagogicznego, zarówno jak brak doświadczenia, daje się odczuwać w bardzo przykry sposób wszystkim młodym matkom. Zmuszone kierować wychowaniem swych dzieci, pozbawione jasnego na pracę tę poglądu, — umiejętnych i na doświadczeniu opartych wskazówek, do zadania swego zabierają się po dyletancku i w najlepszym razie — tj. gdy im nie zbywa na dobrych chęciach i poczuciu własnej niekompetencyi, czerpią zkąd mogą dorywcze rady, stosując je bez metodycznego związku i bez konsekwencyi. Tym sposobem dzieci padają ofiarą luźnych eksperymentów pedagogicznych, a często nabywają złych przyzwyczajeń umysłowych, na których późniejsza nauka w zakładach publicznych cierpi, a których wykorzenić nie jest w możności. Powierzenie całkowitej edukacyi dzieci zdolnej nauczycielce zmniejsza niebezpieczeństwo, lecz go nie usuwa. Nauczycielka nigdy zupełnie samodzielnie dzieckiem nie kieruje, gdyż nikt nie przyznaje jej praw do zmienienia trybu domowego i narzucania otoczeniu takiej metody postępowania, którą za słuszną uznaje. Tylko współdziałanie rodziców i nauczycieli, porozumiewanie się i zupełnie zgodne postępowanie przynieść może w wychowaniu pożądane rezultaty. Dla tego też wszystkim matkom zarówno jak i nauczycielkom prywatnym gorąco polecamy książeczkę, której tytuł wypisaliśmy na wstępie. Jest ona zbiorem wielce pożytecznych wskazówek dla wychowawców, rad umiejętnych, na doświadczeniu opartych, wynikających z głębokiej znajomości natury dziecięcej i warunków życia większości dzieci. Autorka jej znaną jest w literackich i pedagogicznych kołach Warszawy, w której cenią ją wysoko jako „pedagoga z Bożej łaski“. Prócz bardzo rozległej praktyki pedagogicznej, której się z wielkim zamiłowaniem oddaje, zasługę jej stanowi nieustanna praca nad psychologią dziecka, do której wiele cennych spostrzeżeń i pożytecznych materyałów zbiera. — Postęp pedagogii nie polega, jak wiemy, na wygłaszaniu i rozwijaniu suchych teoryi ogólnych, recept i przepisów, które ślepo wykonywać należy, lecz na zastosowaniu pracy wychowawczej do jej materyału, do natury, temperamentu, skłonności i uzdolnień wychowańca. To też słusznie robi p. A. Szyc, gdy kilkakrotnie w książce swej pod adresem matek i nauczycielek z naciskiem powtarza radę: *„Obserwować, obserwować i eszcze raz obserwować!“* We wskazówkach swych uwzględnia najpowszechniej spotykane typy dziecięcych umysłów, zwraca uwagę na konieczność stosowania odpowiednich dla nich metod, kładzie słusznie nacisk na równomierny rozwój władz umysłowych, przyczem każe obok wykształcenia mieć nieustannie na oku fizyczne i moralne wychowanie. Szczegółowe wskazówki co do układania planu, zadawania lekcyi, przerw w nauce itp. mogą oddać cenne usługi wszystkim wychowawcom.

Ostatnie rozdziały książeczki poświęcone są metodyce nauczania poszczególnych przedmiotów. Znaczna część zamieszczonych tu rad wynika z ogólnych poglądów, wypowiedzianych poprzednio, — zbyteczna jednak dokładność w tym względzie nie zaszkodzi. Wielką wartość tej ostatniej części stanowi uwzględnienie najnowszych metod nauczania zarówno jak i najnowszych podręczników. Dla rodziców i nauczycieli, pragnących pracę swą zastosować do współczesnych wymagań pedagogii książka p. Szyc doskonałym może być przewodnikiem, zawiera bowiem tytuły wielu polecenia godnych dzieł wychowawczych i dobrych podręczników do nauki. *I. M.*

* * *

* **Brylanty Sembrich - Kochańskiej.** W Warszawie śpiewała Sembrich-Kochańska. W dziennikach posypały się pochwały dla głosu znakomitej śpiewaczki. Pochwały słuszne, usprawiedliwione, a więc żadnego zarzutu czynić im nie należy. Ale oprócz sążnistych pochwał dla głosu, okazały się i sążniste pochwały dla.... toalety.

„Brylanty nieocenione gardziołka Kochańskiej — pisze jeden ze sprawozdawców — dane było opisać szczęśliwszemu odemnie koledze, niechże mnie będzie wolno... opisać toaletę w wielkim stylu i te brylanty, co stanowiły ramy tak wspaniałej treści“. I następuje w wielkim stylu szczegółowy, bo blizko sto wierszy wynoszący, opis „ram wspaniałej treści“.

I są tacy, co mówią, że nam brak zamiłowania do sztuki, lub że wszystko bierzemy lekko, po wierzchu, ze wstrętem do poważnych badań i dokładności.

* * *

* **Studjum o teatrze.** P. Stan. Rzewuski napisał w „Gaulois“ studjum o teatrze niemieckim. Największe pochwały (pisze „Kuryer Warszawski“) autor artykułu oddaje teatrowi w Wiesbadenie i Wiedniu. Mówiąc o niemieckiej produkcji dramatycznej doby ostatniej, wpada Rzewuski w zachwyt przesadny, apoteozując najwątlejsze nawet dzieci współczesnej muzy niemieckiej.

KRONIKA POWSZECHNA.

— **Wiadomości społeczne i polityczne.** W praskiem ministerstwie stanu zarządzonem zostało śledztwo dyscyplinarne, mające wykazać, kto w ostatnich czasach złamał tajemnice dyskusyi, a mianowicie kto dostarczył dziennikom wiadomości o rozprawach ministerstwa nad ordynacyą wojskowych procesów karnych. — Wedle „Deutsche Med. Wochenschrift“ zaszło w r. 1894 w Niemczech w 157 miejscowościach 1004 wypadków cholery, z których 490 zakończyło się śmiercią. Śmiertelność wynosiła zatem 48,8 procent. — Niemieckie stronnictwo konserwatywne rozpoczęło znów agitacyę za znanym wnioskiem hr. Kanitza i nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wniosek ten przyjdzie znowu pod obrady parlamentu. — W ubiegłą sobotę przyszło w parlamencie austryackim do powtórnych, a tym razem iście imponujących manifestacyi na cześć Lügera. Marszałek czuł się zniewolonym rozporządzić nawet opróżnienie pierwszej galeryi, tej, na której zasiada dystyngowana publiczność. Za parlamentarnej ery w Austryi fakt ten zdarzył się po raz 1-szy. Po Wiedniu krążą najdziwaczniejsze pogłoski. Mówią o przeniesieniu parlamentu do innego miasta, o rozwiązaniu rady państwa, o dymisyi gabinetu. Wieści te nie mają dotychczas podstawy, jedno jednak jest niewątpliwem, że sobotnie posiedzenie Izby było wielką, moralną klęską dla rządu. — Z Petersburga donoszą, że dzień koronacyi carskiej pary rosyjskiej został stanowczo naznaczony na dzień 12 maja starego stylu.

— **Teatr i muzyka.** W ubiegły czwartek wystąpił p. Józef Kotarbiński na poznańskiej scenie w dramacie Laubego p. t. „Hrabia Essex“. Gra krakowskiego artysty była przedziwnie piękną, ale otoczenie gościa naszego było tak skandalicznem, że nawet wyrozumiała i względna publiczność nasza zdobyła się dwukrotnie na manifestacyę sykania. Nie była to gra lecz bełkotanie. — Michał Bałucki wykończył nową komedyę p. t. „Sprawa kobiet“. — Niebawem wystąpi w Poznaniu znana pianistka warszawska p. Iwanowska-Zaleska i tenor Grąbczewski. — Najnowsza komedya Sudermanna p. t. „Das Glück im Winkel“ doznała w wiedeńskim Burgu średniego powodzenia. — Paryzki „Wolny teatr“ rozpoczął 24 zm. przedstawienia pod nową dyrekcyą Larochelle'a dramatem obyczajowym I. Caraguela: „Wprzód dym — potem ogień“. — Najsłynniejszy tenor angielski Ben Davies występuje gościnnie w Niemczech. — Eleonora Duse wybiera się z początkiem przyszłego roku do Rosyi i Austryi. W przejeździe potrąci prawdopodobnie o Poznań. — Na scenie lwowskiej ukaże się niebawem „Macbeth“ w nowym przekładzie Jana Kasprowicza. — Nowości teatru niemieckiego: Mischa „Sława pośmiertna“, Lothara „Pochwała kobiet“, Philippi'ego „Droga cierniowa“. — Sztuka T. Wolffa na tle romantycznem japońskiem p. t. „Tego nikt nie wie“ miała w Berlinie wielkie powodzenie. — Pan Juliusz Borowski złożył dyrekcyi teatrów warszawskich pięcioaktową sztukę p. t. „Bez wyjścia“. — Wagnerowskie towarzystwo z Bayreuth zjeżdża do Warszawy na gościnne występy. — Po zmarłym Al. Zarzyckim została nieznana kompozycya p. t. „Berceuse“.

Odpowiedzi Redakcyi.

— **Józefowi K.** Stałe korespondencye z zaboru rosyjskiego zaprowadzimy już w najkrótszym czasie.

— **M...wicz.** Korespondencya Pańska nadaje się do dzienników politycznych, dla których nawet będzie pożądanym materyałem. Dla naszego tygodnika jest nieodpowiednią.

— **Marya.** Sen, bezczułość i katalepsya hypnotyczna, a jasnowidzenie, elewacya, astralne ciała itd., to zupełnie odmienne pojęcia. Pierwsze są zjawiskami realnemi, drugie sztuczkami kuglarskiemi, obliczonemi na łatwowierność naiwnych. Gdyby oszust, napiętnowany w feljetonie zeszłego tygodnia, przestał był na demonstracyach hypnotycznych, nie występowalibyśmy przeciw niemu, ale ten „gracz“ prezentował nam niby jasnowidzące medya i plótł jak Piekarski na mękach o chiromancyi, o unoszeniu się w powietrze osób hypnotyzowanych, itp.

Za redakcyą odpowiedzialny Dr. Wł. Rabski w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 48. Poznań, niedziela 1-go grudnia 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Piekary nr. 6. **Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Przesilenie na giełdach europejskich.

Ubiegłe tygodnie na długo pozostaną zapisane w pamięci spekulantów giełdowych. Oddawna już kryzys pieniężny niebył tak powszechnym, jak obecnie, ani też nieobejmował tak obszernego terytoryum i tak różnorodnych walorów, jak to miało miejsce w ostatnich czasach. Wszystkie ważniejsze giełdy europejskie zostały nim dotknięte. Wszędzie dawała się odczuć znaczna depresya, papiery z trudem znajdowały nabywców, i kurs ich spadał coraz niżej.

Paryż był punktem wyjścia, zkąd rozprzestrzeniła się kryzys na resztę europejskich rynków pieniężnych. Szalona spekulacya akcyami południowo-afrykańskich kopalni złota oddawna już groziła zaangażowanym w nią finansistom francuzkim gruntownym krachem. Niestety ani zawodowi bankierzy, ani też publiczność paryzka, niezaprzestawali gry na zwyżkę. Formalna gorączka opanowała stolicę Francyi. Każdy szanujący się finansista, mąż stanu, „homme de lettres“ nawet, musiał posiadać afrykańskie walory złote. Dziś nadszedł zwykły w takich razach smutny koniec. Nadmiernie wyśrubowana cena akcyi dosięgła swego maximum. A wtedy nastąpiła nasamprzód stagnacya. Kurs utrzymywał się czas jakiś na tej samej stopie. Posiadacze walorów, którzy rachowali na dalszą jeszcze zwyżkę, poczęli się ich pozbywać, by módz zapłacić przegrane różnice. Pod wpływem zwiększonej podaży poczęła się zniżka, początkowo powolna, lecz z każdą chwilą coraz szybsza, coraz raptowniejsza. Wreszcie rozległo się fatalne słowo „invendable“. Kryzys był w całej pełni.

Krach afrykańskich walorów złotych pociągnął za sobą natychmiastową zniżkę i wszystkich innych papierów na giełdzie paryzkiej, olbrzymie bowiem straty, poniesione przez najpoważniejsze nawet firmy, zrodziły większe nad zwykłą normę zapotrzebowanie brzęczącej monety. Strach przed zbliżającą się likwidacyą rzucił na rynek pieniężny nadmierną ilość wszelkiego rodzaju papierów. By módz spłacić poniesione straty, każdy niósł na giełdę posiadane przez się wartości. Im zaś trudniej znajdowały one nabywców, tem większą była obawa publiczności przed 6-tym listopada, dniem obrachunków. Brak popytu rodził panikę a panika zniżała jeszcze bardziej kursy.

Oczywiście, najn żej spadły papiery tych instytucyj, co się najwięcej zaangażowały w spekulacyę kopalniami złota. W pierwszym rzędzie należy tu wymienić „Banque Ottomane“. Porobił on znaczne zakupy złotych walorów, wciągając do tej spekulacyi całą swą klientelę. To też kurs jego akcyj spadł z przerażającą szybkością. Stoi on dziś o 100 fr. niżej, niż przy ostatniej likwidacyi. Równocześnie poczęto gorzej notować i wszystkie tureckie papiery, któremi Bank otomański głównie spekulował. Bezwarunkowo nie da się zaprzeczyć, że bezpośrednią przyczyną ogólnej zniżki kursu był krach walorów kopalni złota i papierów tureckich. Naiwnem wszakże byłoby utrzymywać, iż był on jedyną przyczyną tak powszechnej, bo obejmującej wszystkie europejskie rynki, depresyi. Nieraz już bowiem widzieliśmy groźniejsze nawet krachy poszczególnych instytucyj finansowych, a jednak niemiały one tak rozległych i zasadniczo złych konsekwencyj. Nie należy też zapominać, że jedynie paryzka i londyńska giełda na seryo zaangażowane były w spekulacyę złotemi walorami. W Berlinie zaś, w Frankfurcie i Wiedniu publiczność trzymała się od niej zdala. Jedynie niektóre firmy bankowe próbowały w niej szczęścia. Tymczasem, zarówno niemieckie, jak i austryackie walory spadły nie mniej od papierów francuzkich. Musiały więc już oddawna stalsze i głębsze przyczyny przygotować grunt dla powszechnego spadku, który w ubiegłym tygodniu ogarnął całą Europę. Krach zaś afrykańskich walorów złotych przyspieszył tylko ich działanie, zmieniając powolny odwrót w paniczną ucieczkę déroute).

I w samej rzeczy, ogólny stan finansowy Europy zmienił się zasadniczo w przeciągu ostatnich dwóch miesięcy. Złożyły się na to dwa nader ważne czynniki. Nasamprzód polityczna sytuacya, która od dłuższego czasu nie wzbudzała żadnych zgoła obaw, poczęła naraz być dość niepokojącą. Giełdy przywykły już były niemal nieracho wać się wcale ze światem dyplomacyi, gdy naraz wyrwały je z błogiego spokoju: sprawa armeńska, wieści o umowie Rosyi z Chinami etc.

O wiele jeszcze silniejszym był wpływ drugiego, tj. ekonomicznego czynniku. Rynki europejskie przepełnione były do niedawna jeszcze pieniędzmi. Ztąd to i nizka stopa procentowa, i znaczne ożywienie spekulacyj giełdowych, i wyższy kurs papierów wartościowych. W ostatnich wszakże czasach handel i przemysł zapotrzebował znacznych sum pieniężnych. Stagnacya bowiem rolnicza, przybierająca coraz poważniejsze rozmiary, unieruchomiła olbrzymie kapitały w zapasach cukru i zboża a po części i wszystkich innych towarów. Produkcya rolnicza i rolniczo-przemysłowa nieznajduje zbytu. Zużyte przez nią zasoby pieniężne niedają się zrealizować. Wyrwane z obrotu kapitały niewracają doń wcale, a przynajmniej ponowny ich dopływ jest zbyt powolnym. Tymczasem przemysł fabryczny poczyna się ożywiać. Zapotrzebowanie na kapitał obrotowy wzrasta. Pieniędzy coprawda niebrak, lecz znalazły one inne przeznaczenie. Rozproszono je w formie płac zarobkowych i różnorodnych kosztów produkcyi. Dla przemysłu więc jak gdyby nie istniały. Tylko skupione w większe sumy, posiadają one dlań znaczenie. Należy przeto czekać, aż nagromadzone zasoby wytworów rolniczych i rolniczo-technicznych przybiorą napowrót swą pieniężną postać, a póki to nie nastąpi, musi się przemysł zwracać o pomoc do instytucyj finansowych.

W ten sposób odpływają kapitały z giełd do fabryk i handlu. Cyrkulacya ich staje się znacznie powolniejszą i stopa procentowa wzrasta.

Banki wysyłają też coraz pokaźniejsze sumy swym klientom i prowincyonalnym filiom, klienci bowiem wycofują coraz powszechniej swe depozyty, banki zaś ze swej strony lokują chętniej kapitały w handlowych i przemysłowych przedsiębiorstwach, niż w walorach, traktując papiery wartościowe jedynie jako ruchomą rezerwę. Giełda nie jest bynajmniej właściwym terenem ich czynności. Zbywające tylko sumy poświęca się spekulacyom, lecz i to z zastrzeżeniem, iż przy pierwszej korzystnej okazyi umieści się je w pewniejszych i stalszych lokacyach. Oczywiście, jak wszędzie tak i tu należy zachować pewną miarę. Raptowna wyprzedaż posiadanych walorów bywa nieraz zbyt ryzykowną, przyprawiając o nadmierne straty instytucye, szukające w ten sposób gotówki.

W ubiegłych wszakże tygodniach finansiści nieumieli miary tej zachować i dlatego

to na wszystkich rynkach spadek kursów dosięgnął rozmiarów powszechnej klęski a sprawozdania giełdowe niemówią o słabnącem ożywieniu, lecz o depresyi i panice.

Nie sam więc fakt mniejszego popytu na wszelkiego rodzaju walory i zniżki ich cen, jest anormalnym, chorobliwym objawem — bynajmniej. Przerażająca jedynie szybkość, z jaką zniżka objęła odrazu tak różnorodne akcye i papiery a zarazem niezwykła różnica in minus w ich notowaniu, zaniepokoiły świat finansowy.

Powiedzieliśmy już poprzednio, że wewnętrzne ekonomiczne i polityczne czynniki przygotowały grunt dla „déroute'y", której jesteśmy dziś świadkami. I w rzeczy samej, gdyby nie poprzedni nastrój giełd, klęska nieprzybrałaby nigdy tak obszernych rozmiarów, krach afrykańskich walorów złotych niepociągnąłby za sobą tak powszechnej zniżki, obejmującej papiery, niemające najmniejszej nawet z nim styczności.

Z drugiej wszakże strony, wskazane przez nas zmiany w finansowej sytuacyi Europy niebyłyby w stanie same przez się doprowadzić do tak raptownej i głębokiej zniżki kursów.

W zwykłych bowiem warunkach postarałyby się banki europejskie powoli wycofać ze spekulacyi potrzebne im sumy i nadać im więcej stałą formę, lokując je w przemyśle lub handlu. Rynek pieniężny przystosowałby się stopniowo do nowych warunków.

Gdy jednak na czas takiego właśnie odwrotu kapitałów z giełdy przypadła klęska poważnej i cieszącej się rozległą klientelą instytucyi, wtedy panika, zrodzona w Paryżu, objęła wszystkie inne rynki. Ogólna dziś finansowa sytuacya Austryi i Niemiec niekryje w sobie żadnych zgoła groźnych momentów. Coprawda, wymaga ona pewnej rezerwy w operacyach giełdowych, mniejszego niż dotychczas ożywienia spekulacyj pieniężnych, zwyżki stopy procentowej i zniżki kursów — są to jednak normalne, codzienne niemal zjawiska. Charakterystyką bowiem dzisiejszego rynku pieniężnego są ciągło wahania w zapotrzebowaniu i zaofiarowaniu, nieustanne zwyżki i zniżki kursów. Jedynie więc zaraźliwym przykładem oszołomionej klęską giełdy paryzkiej da się objaśnić ten gorączkowy pospiech, z jakim austryackie i wiedeńskie banki wycofywały się z ryzykowniejszych spekulacyj, odmawiając swym klientom z dawno niewidzianym uporem wszelkich dalszych zobowiązań.

Systematyczność wszakże, z jaką w chwilach największej nawet paniki postępowały banki niemieckie i austryackie, odsuwając od siebie mniej pewną klientelę, a tembardziej spokój, jaki zapanował na giełdzie berlińskiej lub wiedeńskiej, gdy tylko kursa jako tako się ustaliły — dowodzą, że po za Paryżem straty nie są zbyt wielkie, że nie został podkopanym byt żadnej poważniejszej instytucyi. Czy jednakże, mimo względnie pomyślnego przebiegu w dniu likwidacyi (6 listopada), świat finansowy zdoła się uspokoić i od dalszych strat uchronić — przyszłość tylko na to odpowiedzieć jest zdolna.

dr. Gr—ski.





POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Z powodu założenia „Towarzystwa ludowego na obwód parafii Chmielińskiej, — towarzystwa, którego charakter określa pierwszy paragraf statutów jako wyłącznie katolicki i stałym prezesem mianuje miejscowego proboszcza, zastępcą zaś wikarego, taki wypowiada sąd „Gazeta Gdanska" w Nr. 139.

Stwierdzamy, że Towarzystwo jest katolickiem, ale nie jest polskiem. Ono chwilowo jest także i polskiem, że tak powiemy przypadkiem, z powodu, że członkowie i księża są Polakami, ale podług swych statutów polskiem nie jest, a gdy przyjdzie do Chmielna proboszcz Niemiec, wikary Niemiec i kilku członków wstąpi Niemców, (co przecież bynajmniej nie jest wykluczonem), to będzie ono tem zawsze, czem ma być wedle statutów, to jest katolickiem, ale polskiem już wtedy nie będzie...

U nas toczy się walka śmiertelna przeciwko wszystkiemu co polskie. A z drugiej strony stawia rozpowszechniona umiejętność czytania lud prosty, którego duch z uśpienia coraz więcej się budzi, w możności poznania skarbów narodowych i oparcia się w ten sposób skutecznie germanizacyjnym dążeniom.

Czy katolicyzm sam, czy religia pomoże ludowi, aby dzieci nie zgermanizowały się w szkole? Chyba nie! Przeciwnie zaś coraz więcej księży niemieckiej narodowości, wychowanych w epoce szowinizmu, uważa za swój obowiązek katolicki prowadzić lud ku zgermanizowaniu. Świeżo zarzut z tego czyni rozsądna „Köln. Volkszeitung" księżom na Górnym Śląsku. A czy w naszych Prusach Zachodnich brak księży germanizatorów?

A następnie:

Czy lud polski będzie czuł się zadowolonym, gdy mu ksiądz prezes w dalszym ciągu po obiedzie w niedzielę będzie wykładał, co mówił mu w kościele przed obiadem?

Nie, on po to do Towarzystwa nie chodzi! Jego głęboko religijny nastrój z przyjemnością przyjmie i opowiadania i nauki religijnej treści. Owszem! Ale on ma jeszcze różne uczucia i myśli o ludziach i świecie, czysto świeckiej natury, których rozwiązania także żąda. On potrzebuje następnie wzmocnienia na walkę przeciw germanizatorowi. On powinien odczuć czar polskiej i wesołej piosenki, różnych pieśni towarzyskich i ludowych, aby poczuł się w głębi duszy Polakiem, aby dusza jego rozżarzała i pokarm miała dla myśli i dla uczuć przez tydzień powszedniej pracy; mąż polski winien stać się ojcem polskiego, nie tylko katolickiego domu...

Dla tego nie podobna nam się pisać na taką zasadę i na owo ustanowienie Towarzystwa w Chmielnie, według którego i ksiądz Niemiec dla tego, że jest proboszczem lub wikarym w Chmielnie i choćby miał tendencye germanizatorskie, ma być kierownikiem Towarzystwa polskiego ludu chmielińskiego. Nie mamy zupełnie nic przeciw temu, aby księża byli przewodniczącymi Towarzystwa. Gdy nie są dyktatorami, gdy nie onieśmielają członków, są znakomitymi przewodnikami, a w obec ludu prostego, w Towarzystwach ludowych są niewątpliwymi przewodnikami urodzonymi. Dla tego już dziś Towarzystwa, a mianowicie ludowe księżom ogromnie wiele zawdzięczają.

Oby coraz więcej ludowych „Towarzystw pod przewodnictwem naszych zacnych proboszczów powstawało! — ale nie z taką uchwałą, jak w Chmielnie, lecz z uwzględnieniem pierwiastku narodowego.

* * *

Z powodu nowej emisyi akcyi „Banku Ziemskiego" zamieszcza „Dziennik Poznański" następujące uwagi w Nr. 271:

„Działalność Banku Ziemskiego jest dwojaką. Po pierwsze ma na celu przeciwdziałać przesileniu rolniczemu w miarę sił i środków, po drugie ma na celu powolne przeobrażenie społeczeństwa, przetworzenie go ze społeczeństwa składającego się dzisiaj przeważnie z wielkich właścicieli ziemskich i masy bezrolnych wyrobników na społeczeństwo, w którem harmonijną tworzyłaby całość wielka, średnia i mała własność. Innemi słowy: na społeczeństwo normalnie ukształtowane i normalnie się rozwijające.

Że Bank Ziemski tej herkulesowej pracy bez współdziałania ogółu uskutecznić nie może, rozumie się samo przez się. Przeobrażenie takie nie dokonywa się w kilku latach, ani nawet lat dziesiątkach. Na spełnienie takiego zadania potrzeba całych pokoleń, ale niemniej przeto jest to praca godna poparcia ogółu i pod względem społecznym i narodowym może najważniejsza.

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.



(Dokończenie.)

VI.

Dzień wyborów się zbliżał. Pan Antoni zaczął wierzyć w pomyślny wynik swych starań. Redaktor, dyrektor, jenerał, mecenas, pan Filip, pani Antoniowa, pan Chabgeld, oraz inni, pominięci w naszem opowiadaniu obywatele, pracowali nad siły. Rezultat zależał głównie od „braci rzemieślników" i „braci mojżeszowego wyznania". Co do tych ostatnich pan Chabgeld nieustannie powtarzał: dobrze chodzi. „Kto dobrze chodzi?" pytał pan Antoni... „Nu, nasze sprawe dobrze chodzi", odpowiedział zapytany, a gdy mu mówiono, że się mówi: „dobrze idzie", uśmiechał się i dodawał: „ny, czy idże czy chodżi, to na jedno wichodżi".

Zebranie przywódzców liberalnej partyi rzemieślników, rękodzielników i przemysłowców naznaczone zostało na dzień św. Zofii. W dniu tym miały zapaść stanowcze uchwały, tyczące się listy kandydatów. W wielkiej sali jednego z cechów zebrała się poważna starszyzna i zasiadłszy przygotowane krzesla i stołki radziła nad dobrem narodu. Przewodniczył jej pan Jacenty Głowacz, właściciel dwóch kamienic, piekarni, trzech sklepów, potężnego wąsa, czerwonych policzków, zielonej tabakiery i córki umiejącej po francuzku i grającej „na fortepianie". Stentorowym głosem otworzył posiedzenie, wykazawszy w krótkich słowach, że „względem tego, co każe sumienie i polityka, trza się, kochani bracia, naradzić, bo wybory za dni kilka, a zapóżno w piecu palić, kiedy chleb furt do wsadzenia gotowy".

Gdy skończył pan prezes, prosił o głos obecny na posiedzeniu dr. Reformacki i w długiem przemówieniu podniósł ważność chwili, skreślił dzieje stańczyków od czasu Adama, wskazał dokładnie, iż Kaina słusznie uważać można za ich protoplastę, potrząsł z lekka sprawę nieomylności papieża, przypuścił możliwość konfliktu austryackorosyjskiego, oświadczył się za usunięciem obecnego prezydenta, przepowiedział wylew Wisły na wrzesień, skutkiem czego przyszła wystawa znajdzie się o dziesięć metrów pod wodą, a w końcu z tego wszystkiego wyprowadził wniosek, że jeżeli tacy ludzie jak Wątróbkiewicz, Trygonometrycki, Wasserfeuer, Bezklepkiewicz, Cichotrąbski nie wejdą do Rady miejskiej, to nietylko, iż miasto zbankrutuje i przepadnie, ale postępowa Europa obróci się tyłem do Krakowa.

Następny mówca „kalkulował sobie", że dopóty nic będzie dobrze na świecie, dopóki nie zniesione będą podatki, a w tym celu radził wysłać „dyligacyą do Wiednia". Dyskusya na te tory popchnięta zaczęła się wikłać — w tem ukazały się pełne flaszki anyżowej, miętowej, starki i pomarańczówki, w towarzystwie kiełbasy, wędzonki, szynki i innych rozkoszy życiowych. Podniosło to uroczystość chwili, zwłaszcza, że gościnny gospodarz nie zapomniał i o nektarze okocimskim. Zebranym zaczął się świat mniej smutnym wydawać, a dyskusya z pola teoryi zeszła na pole praktyki. Każdego kandydata omawiano po przyjacielsku, wyliczano jego zalety lub błędy, a choć czuć było pewne obałamucenie umysłów polityką, choć o „utrymarynach i konwerstatystach" wspominano dość często, to przecie zdrowa myśl i jasne zapatrywanie się na sprawy miejskie wyłaniały się dość często z tej dyskusyi.

Nareszcie wymówił ktoś nazwisko pana Gandziarowskiego. Z licznych ust odezwały się pochwały. Chwalcami byli przeważnie obywatele, znani z uległości dla swych połowic; czuć było, iż zabiegi dyplomatyczne p. Antoniowej wydały pożądany skutek. Chwalono rządność, gospodarność kandydata.

Nie wchodzimy w szczegóły działalności Banku Ziemskiego się dotyczące, mamy bowiem na celu tylko poruszenie tej ważnej kwestyi i mamy nadzieję, że ludzie fachowi i bardziej powołani się nią zajmą. Kwestya ta nie powinna obecnie schodzić u nas z porządku dziennego, aż dopóki załatwioną nie zostanie, to jest aż dopóki akcye nowej emisyi Banku Ziemskiego rozkupione nie będą. Zdaniem naszem powinno to być obecnie naszem ceterum censeo.

Za zakończenie chcielibyśmy tylko jeszcze przypomnieć, że Bank Ziemski ze szczupłemi środkami swemi już 44 tysiące morgów rozparcelował pomiędzy 1013 rodzin włościańskich. Jeżeli to tedy za rękojmią na przyszłość uznamy, to powinniśmy nowej emisyi akcyi Banku Ziemskiego wszelkiemi siłami dopomódz, już to sami akcye subskrybując, już to przez rozwinięcie odpowiedniej agitacyi. Wiadomo, że Bank Ziemski przed rokiem uchwalił podwyższenie swego funduszu zakładowego z 1,200,000 na dwa miliony marek. Dotychczas wypłacał Bank ten akcyonaryuszom swoim regularnie 4 proc. dywidendy, dawał więc odsetki takie, a może nawet i wyższe, jak inne papiery państwowe. Założyciele tedy banku, nietylko że spełnili obowiązek narodowy, ale znaleźli dobrą lokacyą dla swych kapitałów.

Pomnijmy zresztą na to, że przy pierwszej emisyi głównie inne zabory nam dopomogły. Starajmy się więc, aby teraz gdy Bank przeszedł próbę ogniową zwycięsko aby przy tej nowej emisyi Wielkopolska godnie wystąpiła i nie dała się znowu przez Galicyą i Królestwo wyprzedzić. . . .

Nie przeczymy temu, że społeczeństwo nasze dużo ponosi ofiar na cele publiczne. Wystarcza wziąść do ręki pierwszy lepszy numer gazety, aby się o tem przekonać. To też na podstawie faktu tego wnioskujemy, że dla najważniejszej naszej instytucyi publicznej pieniądze się znajdą i subskrypcya pokrytą zostanie.

Warunki zaś subskrypcyi nader są dogodne. Akcya opiewa na 1000 marek, ale wpłacić potrzeba tylko 250 m., dalsze zaś raty rozłożone są na roczne spłaty, tak że żadna akcya prędzej jak w przeciągu 4 lat spłaconą być nie potrzebuje.

Pomnijmy w końcu na to, że kupując akcye Banku, ratujemy pośrednio ziemię naszą od obcych jej żywiołów.

Ile zaś jest zagrożonych jednostek w społeczeństwie naszem, które ostatkiem sił bronią się, aby ziemi ojczystej w obce ręce nie wypuścić, a jakby ci szczęśliwi byli, gdyby ziemię swą pomiędzy włościan naszych rozparcelować mogli. Pomoc Banku jest w takim przypadku konieczną i jedynie przez nią można jeszcze wtedy ten kawałek ziemi polskiej uratować.

Sprawie tej poświęcimy w jednym z najbliższych numerów obszerniejsze uwagi.

* * *

Warszawski tygodnik „Głos“ (nr. 7) taką wypowiada opinię w sprawie „Badeni contra Lueger“:

„Mąż stanu, który chce stać nad stronnictwami, żadnego z nich nie będzie zrażał nierozważnie, tembardziej zaś stronnictwa, mającego przyszłość polityczną. Można być zasadniczym przeciwnikiem agitacyi antysemickiej, a jednak widzieć, że nawet przy obecnej ustawie wyborczej, tembardziej zaś w razie jej rozszerzenia, antysemici w przyszłych wyborach odbiorą dużo mandatów liberałom. Ruchu masowego, chociażby mającego dążenia fałszywe, ale wynikającego z przyczyn uzasadnionych, nie stłumi najenergiczniejszy minister, opanować go może zawsze człowiek rozumny i umiejętnie wyzyskać dla celów swej polityki. Antysemici, z wyjątkiem jednego odłamu narodowców niemieckich, są stronnictwem bardziej i szczerzej od innych uznającem aspiracye narodowe ludów słowiańskich w Austryi.

Program polityczny hr. Badeniego miał jedną cechę dodatnią, która w oczach wielu wynagradzała wszystkie jego słabe strony i braki. Rząd chciał i obiecywał być energicznym i samodzielnym. Tymczasem pierwsza próba wykazała, że rząd umie być wprawdzie szorstkim i lekceważyć prawa ludności, ale ani swoich praw, ani swojej godności bronić nie umie, i chociaż naczelnik jego nadrabia fantazyą, nie tylko nie prowadzi sam akcyi politycznej prostą drogą, ale bardzo łatwo daje się sprowadzić na manowce“.



Sylwetki poetów czeskich.

VI.

Józef K. Szlejhar.

W rzędzie nowelistów czeskich zabłysnął po nad innych w dobie ostatniej Józef K. Szlejhar.

Widzi on niemal wszędzie złe, boleść, smutek, wyzysk, — nieu-tosunkowanie między przeznaczeniem stworzeń i ich życiem. Wydobywa prawie jedynie tony przygnębiające, chmurne. Nawet gdy weselej zabrzękną jego struny, to wyłącznie po to, aby na końcu zwiększyć rozdźwięk i spotęgować posępne wrażenie. Dla tych też przyczyn opisywane przezeń istoty wstawiane są w odpowiednie ramki. Cała natura, otoczenie, w którem umieszcza swe postacie, nawet zwierzęta, malowane są w tym celu. Nędza dusz, troska o chleb powszedni, poniewieranie ludzi, cała bieda wszelkich stworzeń rzucona jest na tło krajobrazów szarych i ciemnych, ziemi bezpłodnej i jałowej, albo też autor innej chwyta się metody. Maluje obrazy świetlne, jasne, pogodne, aby czytelnik na mocy prawa kontraktu pod silniejszym był wpływem, gdy przed oczyma jego pocznie przesuwać cienie, mroki i smutki. Też krańcowość widzimy w odtwarzaniu ludzi, których zna 2 tylko gatunki, bardzo złych lub bardzo dobrych, ale zawsze w takim razie krzywdzonych.

Kwintesencyą świata dla niego jest krzywda. Jest on pesymistą, pełnym współczucia dla cierpiących, z pogardą patrzącym na cywilizacyę. „Bo cóż znaczy ona, ta chluba ludzkości, jeśli możliwe są wypadki, jakiem znalazł“ — tak kończy autor nowelkę „W zaciszu“, gdzie roztoczył przed nami widok nędzy i zaniku uczuć robotnika małomiasteczkowego. Umarł mu syn Wojtek, z czego był niezmiernie zadowolniony. Gryzło go jedynie, że ma więcej jeszcze dzieci, a zwłaszcza chorą Annę. „A ta, jak długo jeszcze żyć będzie?“ — Tymczasem gospodarz wyrzuca go z mieszkania. Robotnik ma otrzymać miejsce gdzieindziej. Postanowił zmienić miejsce pobytu. Każe żonie brać rzeczy, ściąga z umierającej córki pierzynkę, „bo ta jej nie na długo będzie potrzebną, a żywym przydać się może“, odrywa matkę od gorączkującego dziecka i podąża z nią i resztą dzieci tam, gdzie znośniejszy znajdzie snać zarobek. — „Maminko“ — szepce Anna z pod słomy i chusteczki maleńkiej, którą biedna matka okryła śmiercią stygnące jej nóżki — „ale nikogo już niema w izbie“. Uległa matka poszła z ojcem błędnym niemal z nędzy, despotycznym, rozstrojonym i zamarłym uczuciowo. Na widok wydającej ostatnie tchnienie córki nawet nie drgnął.

Tego rodzaju scenki są treścią wszystkich prawie nowelek Szlejhara. Zdaje się, że autor odczuwa ból razem z cierpiącymi, że każdy nerw w nim wibruje.

Szczególnem upodobaniem otacza życie zwierząt chorych lub na zatracenie skazanych. Jest on wielkim ich psychologiem. Przebadał, zda się, ich duszę, rozumie każde ich spojrzenie i ruch. Jego zwierzęta żyją, mają duszę, czują i myślą. Szlejhar — to czeski Dygasiński, jeno z odcieniem czysto pesymistycznym.

„Kurczę-melancholik“, nazwane tak z po-

Szczegóły te podnosił zwłaszcza p. Sebastyan Chwałek, rzeźnik, mający sławę największego siłacza i zarazem najsłabszego małżonka. W dyskusyi ostatnim jego argumentem było: „m o j a mi to mówiła“. A w sprawie pana Antoniego m o j a była poniekąd zaangażowaną: zawiązana na prędce przyjaźń z panią Julią Żywokost na Gandziarach Gandziarowska łechtała jej próżność, a uwaga pani Antoniowej, że z jej Janka i Klimci państwa Chwałków piękna byłaby para, doprowadziła p. Sebastyanową do snucia wielu projektów. Wprawdzie Janek miał dopiero lat 17, a Klimcia 14, ale rodzice troskliwi o przyszłość swych dzieci, tego rodzaju projektów nigdy nie uważają za przedwczesne.

Otóż kiedy pan Chwałek skończył rzecz swoją sakramentalnem „m o j a mi to mówiła“, powstał nagle siedzący dotąd w milczeniu pan Józef Cholewa, ogólnie poważany majster kunsztu szewskiego, uderzył pięścią w stół i rzekł krótko:

— A ja wam powiadam, że Gandziara jest łotrem! — i zanim obecni mieli czas ochłonąć z wrażenia, pan Cholewa wprowadził do sali stróża Jędrzeja, znanego nam z początku naszego opowiadania, który na jego wezwanie wyłuszczył jak umiał, humanitarne zasady i czyny swego byłego chlebodawcy. Trzeba dodać, że Jędrzejowa, do ratowania której nie chciał pomódz drobną pożyczką pan Antoni, w kilka dni umarła, a nasz filantrop oddalił Jędrzeja ze służby zapewne dlatego, że czułe jego serce nie mogło znosić widoku nieszczęścia.

Prosta, szczera i z płaczem wypowiedziana relacya Jędrzeja miała skutek gwałtowny. Pan Józef Cholewa nie poprzestał na tem, ale ze wszystkiem, co tylko wiedział o szanownym kandydacie, starał się obrazowo słuchaczów zapoznać. Była więc mowa i o tem, że Gandziarowski jest Gandziarą, że majątek jego powstał z usunięcia testamentu, a następnie z lichwy, że jest nieużyty, skąpy, brudny, fałszywy itd. Wyszły na jaw jego poprzednie paktowania ze stronnictwem przeciwnem, stosunki z Chabgeldem, a wreszcie wiele innych faktów i fakcików, które po części były prawdą po części zaś fantazyą... pani Jęczmionkowskiej.

Tak jest, Jęczmionkowskiej! Ona to bowiem, dbała o honor własny i kandydaturę Przyszczypkowskiego prowadziła gorliwie przez cały tydzień śledztwo z życia i czynów p. Antoniego, ona to rozpuściła ajentów, mogących zebrać materyał dowodowy, ona to wreszcie wybrała p. Cholewę na prokuratora wnoszącego oskarżenie.

Rezultat był fatalny: przy głosowaniu próbnem upadła kandydatura p. Gandziarowskiego głosami 3-ma przeciw 18-tu, oddanym na rzecz Przyszczypkowskiego.

Pozostała jeszcze nadzieja w obywatelach Kazimierza i plakatach. Zaraz na drugi dzień na rogach ulic ukazały się wielkie plakaty następującej treści:

> **Obywatele wyborcy koła X. oddziału X.**
>
> Za parę dni mamy stanąć do urny, aby ster rządów miasta oddać w ręce odpowiednie. Dość panowania kliki i jej służalców! Kto kocha kraj i miasto niech głos swój odda ludziom niezawisłym, pełnym dobrej woli, znanym z ofiarności pracy i kapitału na rzecz dobra powszechnego. A do takich mężów zalicza się
>
> **p. Antoni Gandziarowski**
>
> człowiek nieskazitelnego charakteru i dający gwarancyą, że prawda i postęp będą mu drogowskazem. Cichy jego żywot, bo nie szukał karyery! Na takich ludziach stoi społeczeństwo. Głosujmy więc wszyscy j a k j e d e n m ą ż za
>
> **Antonim Gandziarowskim.**
>
> Niezawiśli wyborcy.

Dla przyszłych historyków tytanicznych walk wyborczych Krakowa, notujemy jeszcze kilka pomniejszych plakatów:

wodu swej chorobliwości, traktowanem jest ozięble przez swą matkę i resztę piskląt, odpędzanem od jadła i zaniedbywanem. Nie korzysta ono z skrzydeł matczych, wiecznie głodne i drżące z chłodu. Ma jednak ducha opiekuńczego, małe dziecko, które zajmują dwie rzeczy: „co to znaczy, że mama umarła?“ a drugie, skąd się wzięły te kurczątka i co ro znaczy; „kura siedzi na jajkach?“ — Dziecię zostało opuszczone, nikt o niem nie pamiętał, bo matkę ojciec zepchnął do grobu. Dostało mamkę. Ta wygania służbę i znęca się wespół z nowemi służebnicami nad dzieckiem, a ojciec powodowany zwierzęcą ku nowej żonie namiętnością, katuje je również. Głodzony i bity, wyrzucony do kuchni z jadalni i sypialni rodzicielskiej (przeszkadzał spać, bo zanadto z wycieńczenia majaczył) — zachorował nieborak i cuchnął. Dom nie mógł go znieść. Za podszeptem usłużnej kucharki — na co macocha tylko czekała — przeniesiono dziecko do wozowni, gdzie zapomniane prawie — umarło. Odkryto to przypadkiem. „Kurczę-melancholik“ bowiem, nie mogąc snać znaleźć schronienia, (bo pod kołderką malca, gdy jeszcze był zdrów, spać mu nie dali, a chłopca zbito) — albo też z głodu — zaczęło piszczeć okropnie. Pani tedy kazała je zabić. Kurczę uciekało przed kucharką, a widząc wozownię otwartą, ukryło się tam, a spotkawszy swego anioła stróża, przytuliło się doń dziecko w chwili, gdy ono, wspominając bitą przez ojca nieboszczkę matkę, — słało światu ostatnie pożegnanie. Dwaj przyjaciele, skazani na śmierć, objęli się wzrokiem serdecznym. Byli razem.

W „Ryzce“ (koń takiej maści) maluje nam autor konia wysłużonego, sprzedanego li tylko na skórę. Korzystawszy z luźnego przywiązania do płotu, zostawia swych towarzyszy, pijących w szynku właścicieli i wolny błądzi wśród śniegu. Głodem nękany, zagląda potem do izby wieśniaka, zkąd wypędzony i poszturchany zanurza się w śnieżnej nawałnicy, a zmęczony bieganiem, pada i kona.

W „dwóch oka mgnieniach“ mamy wieś opustoszałą w czasie wojny, a w niej psa, skatowanego z całą bydlęcością przez biedaka, któremu psisko wypiło resztę mleka, myśląc, iż on dla niego je przygotował. „Sad“ — to pastwienie się nad wężem przez matkę, której syn umarł niegdyś z ukąszenia żmii. Wspomnienie syna zezwierzęciło matkę. „Ptaszek“ — to historya oswojonego ptaszęcia, które przypadkiem wpadło do izby biednego golarza małemiasteczkowego i wesołość w dom wprowadziło. Ale ptaka odebrano. W tym samym czasie głód i zimno przyprawiły ukochane dziecię golarza o chorobę. Cierpiało i marzyło o ptaku. Ojciec sprzedał sukmanę, by kupić go od właściciela, który zeń zdarł niemiłosiernie. Lecz synek umarł. Matkę znalazł golarz w dni kilka w śniegu na grobie stężałą. Gdy więc wróciwszy spostrzegł i ptaka martwego, nie dziw, że rankiem spostrzegli go ludzie wiszącego na drzewie z ptaszęciem w zanadrzu.

Takie smutki rzuca nam Szlejhar nemal w każdej nowelce, które po prostu wywierają częstokroć wrażenie czegoś nierzeczywistego. Same cienie, same noce, nic światła, nic szczęścia dla dusz biednych i kochających. A w naturze i zwierzętach Szlejhara drga wielka litość. Gdy ma przyjść śmierć, „kurczę-melancholik“ poczyna piszczeć, natura zmienia się. Jest to w pewnym stopniu mistrycyzm, zbliżający go do Brzeziny.

Talent autora rośnie i rozwija się bezustannie. Szkice jego stają się coraz doskonalsze, rzeczywistsze, chociaż bydlęcość, zwierzęcość ludzka, namiętności dzikie, psychologia zwierząt, zwykle chorobliwych i wynędzniałych, służy i nadal za treść jego utworków. Lecz w zbiorku „Wrażenia z przyrody i społeczeństwa“ tak okrutnie nie drażni już nerwów. „Chora jabłoń“ i „matka“ — oddziałują raczej melancholią swoją. „Chora jabłoń“ — zasadzona w dzień ślubu, więdnie; zły to prognostyk — wszyscy, główni zaś dziadek, są pod wrażeniem ponurem — młoda małżonka wkrótce też umiera. W Maeturlinckowskim dramacie „Gość nieproszony“ podobne mamy sceny i podobnego dziadka. Pachnie to nieco mistycyzmem, ale o wiele możliwszem się wydaje, niż przeczucia śmierci „kurczęcia-melancholika“.

Weselszym i może najrzeczywistszym obrazkiem jest opowiadanie „O panu Szpaczku“. Są to dzieje zakładania rodziny szpaczej, wybór mieszkania, umizgi o życie małżeńskie, troska o wychowanie dzieci, o przemianę stopniową charakteru w szpaku, który staje się z kolei filistrem, satyrykiem, melancholikiem; wreszcie znów serduszko w nim mocniej zakołatało, — spojrzał na żonkę, w myśli przesunęły się wspomnienia rozkoszy wiosennych i jął wywodzić tryle, pewny prognostyk zamiany Dumasowskiej „fizyki miłości“ na „chemię małżeńską“. Ale kot już nań czyhał. — Rodzina odczuła całą boleść, wiedziała ona, jaką podporą materyalną i opieką był dla niej „pan Szpaczek“, a zresztą tyle dni razem spędzonych — toćby i pies się przywiązał!

W roku zeszłym wydał Szlejhar większą powieść: „Florjan Bilek, młynarz z Myszyc“, gdzie nas zapoznaje z wypadkami i osobami mającemi styczność z młynem, którego posiadanie ma własność podnoszenia godności właściciela. Bywa on zwykle poważanym, jest pierwszą we wsi figurą. Młyn! fortuna nialada! Młynarz Bilek to postać zajadła, despotyczna, głowa pełna figli złośliwych, marnotrawca, niewierny mąż, próżniak. — „Młyn może znieść tylko jednego próżniaka, a tym chcę być ja“ — mówi do służby — dla syna chłodny, bo z biedną dziewczyną pragnie się ożenić, dla kochanki jego bezlitościwy, bo kopie ją, gdy Anna pod sercem nosząc dziecię, błaga go o pozwolenie na małżeństwo z synem. Ale za to jest on niezwykle ambitny i próżny, bo choć wuj Anny spalił młyn i zubożył tem młynarza, Bilek funduje jak może, a obojętnie przez wszystkich w karczmie witany, kończy życie na gałęzi. Wacław, syn jego, to ciemięga pod każdym względem i nie wiadomo, co przywiązało doń Annę, kochającą go do szaleństwa.

Autor z wielką prawdą maluje nam zabiegi wuja Jehunka w celu zdobycia młyna. Skupuje on weksle, okrada Bilka, zabija gęsi, niszczy upust młyński. Figura ta w całej podłości podnosi się przed nami, lecz spekulant nie osięgnął celu. Młyn został kupiony przez ojca panny, którą Bilek chciał mieć za synowę, i wraz z jej ręką dostał się Wacławowi. A Anna! straciła dziecię i długo o Wacławie nie mogła zapomnieć!

Całe mrowisko istot wiejskich, powołał autor w powieści swojej do życia. Jest tu i sprytnie usłużny karczmarz i mędrzec owieczkowy i włóczęga, chłop, wieczny tułacz.

I.

Telegram!

Miasto Lwów patryotycznym obywatelom Krakowa, wybierającym dziś do Rady miejskiej

p. Antoniego Gandziarowskiego

śle braterskie pozdrowienie. Niech żyją postępowi wyborcy Krakowa!

II.

Precz z hrabiami! Nie dla psa kiełbasa!

Vivat Gandziarowski!

III.

Obywatele wyborcy!

Nikczemne zabiegi, aby nie dopuścić do Rady

Antoniego Gandziarowskiego

winny znaleźć odpowiedź w jednomyślnym jego wyborze! Pamiętajcie o tem wyborcy, jeśli nie chcecie shańbić starej stolicy Piastów i Jagiellonów!

Jakiś dowcipniś z partyi przeciwnej w sam dzień wyborów kazał rozlepić następujący plakat:

Co po Żywokoście w Radzie, kiedy go można dostać za centa w aptece!

Mimo to obywatele wyborcy! stańmy do urny jak jedna żona i głosujmy za

Gandziarą.

Rezulat wyborów był następujący: Wątróbkiewicz głosów 319, Wasserfeuer 491, Gandziarowski 48, Przyszczypkowski 312 itd. itd.

Te 48 głosów, które były zaledwie 1/6 ilości głosów potrzebnych do wyboru, kosztowały pana Antoniego przeszło 2000 złr.

Do klęski moralnej przyczynił się głównie p. Chabgeld, gdyby bowiem „nabyci“ przez niego wyborcy głosowali zgodnie za p. Gandziarowskim, byłby tenże prawdopodobnie i tak nie przeszedł, ale przynajmniej miałby dla osłody dwieście kilkadziesiąt głosów. Taki upadek nie zwraca wprawdzie kosztów „przedsiębiorstwa“, ale jest bądź co bądź dość jeszcze zaszczytnym. Tymczasem p. Chapgeld nie mógł pogodzić się z myślą sprzeniewierzenia się zasadom konserwatywnym i okazał się mężem twardo stojącym przy wyrobionych przekonaniach.

Złośliwi podejrzywali go o jakieś konszachty z Przyszczypkowskim, wymieniali nawet sumę, nabyte dla pana Antoniego głosy, ale potwarz ściga i najzacniejszych. Pan Antoni odchorował swój zawód. Powstawszy z łoża, zerwał wszelkie stosunki z jenerałami, redaktorami i mecenasami i postanowił przy następnych wyborach kandydować jako konserwatysta. Demokratyzm wyrzucił za drzwi i kazał wylitografować bilety wizytowe, tak się przedstawiające:

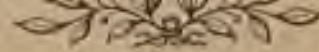


Antoni Józef Żywokost

de Gandziara

Woyniłło-Gandziarowski.

Tego „Woyniłłę“ wynalazł mu podobno świeżo p. Żychliński, obiecując w przyszłym roczniku „Złotej Księgi Szlachty Polskiej“ podać rodowód Gandziarowskich, idących w prostej linii od zmarłego bezpotomnie Woyniłły, kniazia na Kurpiszkach i Czarnej babie.



Mamy tu sceny w karczmie, i widok zabaw, spotykamy też czułego ojca Anny, którą odwiedza w tajemnicy przed żoną i zostawia dla wnuczka, urodzonego w domu dwojga dobrych ludzi (i tacy znajdą się na wsi) — nieco ubrania i guldena. A zmyka czemprędzej z powrotem, bo żona, — przed jej docinkami wszak córka uciekła, — a on dawno już nie miał głosu i poniewierał się po kącie, jak stary łachman. W powieści tej osoby są już więcej przeciętne, mniej krańcowe.

Całość robi wrażenie dodatnie, pomimo, iż wkradło się kilka zbytecznych ustępów. Autor w pogoni za zobrazowaniem życia wiejskiego, poprzyczepiał tylko niektóre wypadki i ludzi, do osób i zjawisk głównych, nie postarawszy się o silniejsze z niemi związanie. Język autora nie odznacza się artyzmem. Stylu nie posiada. Podpatrywaniem życia jednak i suggestyonowaniem swych uczuć działa na czytelników.

Z. Makowiecki.



Secessyoniści.

Wiele się dziś mówi o malarstwie nowoczesnem. Wszędzie, — tak na wystawie sztuki w Wenecyi, jak w paryzkim salonie, — we Lwowie w roku ubiegłym i teraz w Berlinie — wszędzie czuje się silny powiew nowej sztuki, która, zjawiwszy się niepostrzeżenie, wysuwała się stopniowo na plan pierwszy, aż dziś zasłania dzieła dawnych a uznanych malarzy. Charakteryzuje tę nową sztukę przedewszystkiem gwałtowne dążenie wydostania się z brutalnego naturalizmu i namiętne upodobanie w tem co jest niecodzienne i niezwykłe, pogarda wszystkiego „ce qui est demandé“, — rozkochanie się w półtonach i w półurokach, w nastrojach Rembrandtowskich i w Rembrandtowskich oświetleniach. Nie można jednak zaprzeczyć że obok dzieł prawdziwie pięknych. widzi się przesady dużo, obok pomysłów artystycznych, zboczenia i błąkanie po ścieżkach fałszywych ideałów, — obok indywidualności silnych, umysły raczej spaczone i skrzywione. Widzi się to wszędzie, gdzie nowa sztuka występuje, widzi się więc i w Monachium. Historya powstania secessyonistów jest wszedzie znaną — a u nas znaną bardziej niż gdzieindziej — przez silne węzły, jakie malarzy polskich łączą z Monachium. Z tej więc przyczyny — nie ma potrzeby opowiadać, jak młodzi malarze wyłamali się z pod wpływu akademii, starych form i kierunków, opieki profesorów, rządu i komitetów wystawowych i stworzyli sobie wystawę odrębną, wystawę młodych. Dziś nie sami młodzi latami należą do tych, co reprezentują młodą sztukę. Niektórzy młodzi już dobrze posiwieli i postarzeli się w jej służbie, podczas gdy ona dalej uchodzi, jakby co dopiero w świat sprowadzona. I ci starzy wśród młodych ratują honor nowej sztuki. Przechodząc przez sale, gdzie secessyoniści wystawili swoje obrazy, widzi się że rok ten nie przyspożył im żadnego nowego talentu. Takich obrazów, któreby w sztuce zwiastowały przewrot albo krok wielki naprzód albo odrodzenie, - takich obrazów w tegorocznej secessyi brak. Pomimo tego jednak są rzeczy bardzo ciekawe, a niekiedy i bardzo piękne. Naturalnie że przedewszystkiem mowa być musi o *Böcklinie* i jego „Venus genitrix“. Jest to obraz allegoryczny, złożony z trzech części, rodzaj tryptychonu. Środkową zajmuje postać Wenery, o spokojnej twarzy, rozmarzonych oczach i wspaniałym blasku barw böcklinowskich. Jest w tym jego kolorycie rozlany jakiś spokój ogromny i ogromne bogactwo, jakieś ciepło i jakaś nasycona pełnia barw, którą znajdywało się jedynie u włoskich malarzy odrodzenia. Ma się uczucie, jakby od obrazu tego płynęła najpyszniejsza woń wschodnich pachnideł, upajająca, słodka woń. W porównaniu z współczesnymi malarzami nowszej szkoły wydaje się Böcklin, jak harmonijnie zbudowany, silny, zdrowy człowiek, umiejący oderwać piękno świata z natury, wobec zdenerwowanego dekadenta, na którego tylko pewne podniety i nie wszystkie wrażenia działają. Tę wspaniałość kolorytu ma naturalnie nietylko Venus, ale i prześliczny obraz Bocklina „*Odysseusz i Kallypso*“ i „Zamek napadnięty przez piratów“ We wszystkich tych obrazach czuć niezwykle bogatą naturę, o wielkiej sile, o harmonii wielkiej, a połączenie siły i harmonii spotykamy tylko u pierwszorzędnych mistrzów. Nie mają go i bardzo wybitni malarze, — naśladowcy czy nienaśladowcy Bocklina. Nie ma go i Stuck, owa potęga secessyonistów — który wiele rzeczy podpatrzył u Bocklina. Zaczerpnął u niego wiele motywów malarskich, — owych centaurów i nimf, które Böcklin z takiem zamiłowaniem maluje. Jednak ulubionym jego tematem jest sfinks, obecnie godło secessyonistów. Sfinks to kobieta, sfinks to miłość, sfinks to świat, sfinks to zagadka bytu, to śmierć i życie. Sfinks też jest obrazem, który największą uwagę zwraca na wystawie tegorocznej. Naga o bujnych kształtach kobieta, „la femme de trente ans“, uchwyciła w ramiona swoje mężczyznę i ściska go z szaloną namiętnością. Obraz ten malowany jest świetnie, ale jest w nim coś, co obraża nasze uczucia estetycznego smaku. Takie chwile roznamiętnienia w życiu, nie mają świadków — jest to pewnym beztaktem artystycznym, gdy sztuka odsłania je, oddając pod uwagę tysięcy.

Z malarzy o ustalonej sławie i wybitnem nazwisku wystawił jeszcze Max Liebermann pełen nastroju obraz „In den Dünen“ a Pietschmann „Adama i Ewę“. Pierwsi ludzie siedzą w raju. Ewa pochyla swą głowę o jasnych, rozpromienionych włosach ku Adamowi, i oboje zdają się patrzeć w świat, który jest rajem, i pięknością i szczęściem.

Adam i Ewa, są w ogóle tematem, który malarzom przypadł obecnie do gustu. Ewę spotykamy w najrozmaitszych waryacyach u malarzy angielskich, — a u secessyonistów,

---

BJÖRNSTJERNE-BJÖRNSON.

STRASZNE WSPOMNIENIE
Z LAT DZIECĘCYCH.

Liczyłem wonczas mniej więcej lat siedm, kiedy się roze-zła pogłoska na probostwie, że dwóch ludzi, przejeżdżających łodzią około fiordu Erid, znalazło tuż nad brzegiem morza pół leżącą, pół wiszącą kobietę, która spadła ze stromej skały. Nie ruszyli jej prędzej, dopóki nie dowiedzieli się od niej, kto z nią tak okrutnie postąpił.

Pięć mil morzem do lekarza, a poprzednio jeszcze wizyta u mego ojca, aby od niego uzyskać świadectwo, umożliwiające przytułek w szpitalu! Leżała dłużej niż dwadzieścia cztery godziny bez pomocy, a wkrótce po udzieleniu jej tejże, wyzionęła ducha. Przed skonaniem wyznała jeszcze, że uczynił to Per z Hagbö, „ale — dodała — proszę nie znęcajcie się nad nim“. — Wszyscy wiedzieli, że pomiędzy nią, będącą w służbie w Hagbö, a synem domu istniał stosunek miłosny; a domyślni ludzie wiedzieli w jednej chwili, dla czego pragnął ją z drogi usunąć.

Pamiętam dobrze, kiedy wiadomość ta się rozeszła; było to po południu tej samej niedzieli, w której to o rannej porze ją zamordowali; było to wśród lata, w promieniach słońca czeladź wesoło na dziedzińcu igrała. — Przypominam sobie, że zdawało się jakby zmrok zapadał, twarze wszystkich martwiały, fiord ginął w mgłach, a las i okolica kurczyły się w powłoce cieni. Przypominam sobie, że odczuwaliśmy następnego dnia jakby przewrót wszystkich zwyczajów codziennych, nie czułem się zobowiązany iść do szkoły, robotnicy zaprzestawali pracy i siadali, gdzie im się podobało. Szczególnie kobiety, jakby je siły opuściły, odgadywały jakieś groźne niebezpieczeństwo, widać to było po nich, mówiono też o tem. Mianowicie gdy obcy wszedł na podwórze, twarze ich i ruchy zdradzały, jak potężne wrażenie wywarło na nich zabójstwo. Pod tem samem wrażeniem i my pozostawaliśmy, podawaliśmy sobie ręce jak po długiej rozłęce, zabójstwo bowiem stawało nam przed oczyma; można było mówić o najzwyklejszym przedmiocie, a z głosu i doboru słów widniała obawa mordu. Kładliśmy się do snu i wstawali nad ranem z uczuciem, iż jesteśmy bez opieki, a ochota życia tak nagle stanęła jak wskazówka zegaru o pewnej godzinie. Powoli przybrało owo zabójstwo cechę codzienności, sprawiły to plotka i ciekawość, obrabiały je one, omawiały, sondowały tak długo, aż je utarły, pozbawiły grozy i zamieniły tylko w »najnowszą nowość.“ Niezadługo znaliśmy najmniejszy szczegół stosunku zamordowanej do mordercy; wiedzieliśmy też kto była ta, z którą miał się żenić Per według woli matki. Znaliśmy owych ludzi z Hagbo na wylot i całą ich genealogię.

Gdy sędzia przybył na probostwo na pierwsze przesłuchy, zabójstwo samo było niewyczerpanem źródłem rozmowy; gdy jednak drugiego dnia woźny powiatowy z kilku żandarmami przyprowadził mordercę, nowe mnie uczucie ogarnęło, uczucie, którego dotychczas nie znałem, największa litość. Młody, przystojny chłopak, dobrze zbudowany, niezbyt wielki, o delikatnych kształtach ciała, z ciemnym, niezbyt bujnym włosem, o sympatycznem oku, którego wyraz obecnie był zalękniony, głos miał czysty i pewien wdzięk w całem ułożeniu, wogóle przebijało w nim lepsze wychoowanie. Widoczne było jego przywiązanie do życia, jego umysł pogodny, wesoły.... uczułem nadzwyczaj wiele litości dla niego. Woźny powiatowy mówił z nim łagodnie, inni tak samo, widocznie byli pod tym samym co ja wrażeniem. Tylko mały popędliwy sekretarz zarzucił go potokiem wyrzutów, na które jednak oskarżony, z czapką w ręku, wcale nie odpowiadał. Chodził po podwórzu w koszuli — dzień był bardzo gorący — z płaską czapką na krótko strzyżonych włosach, z rękoma w kieszeniach spodni, lub skubiąc słomę. Podwórzowy pies dostał gości, a więzień przyglądał się ich zabawie, kurom i dzieciom, a w oczach przebijało coś na kształt żalu, że niema z nami nic wspólnego. Słowa dziewczyny: „Proszę, nie znęcajcie się nad nim!“ brzmiały wszedzie, gdzie tylko stanął, usiadł, lub poszedł. Wiedziałem, że zetną go z pewnością, a sądząc, że to bardzo niedługo nastąpi, odczuwałem jakieś trudne do opisania przerażenie, na samą myśl, że *on* ciągle sobie powtarza: za miesiąc umrę, a może za tydzień, za dzień, za godzinę... musiało to być nie do zniesienia. Przysunąłem się do niego, aby sobie jego kark obejrzyć; w tej samej

taraz w sali wchodowej widzimy na ciemnem zle malowanego „Adama“ Karola Terenczy'ego. Obraz ten mógłby z równem prawem nosić tytuł „Grecki Atleta“ lub „Gladyator rzymski“. Patrząc nań winszujemy malarzowi modelu o bardzo silnych i wyrobionych muszkułach, — ale też i nie wiele więcej. Komu jednak winszować można ogromnego sukcesu, to młodemu malarzowi monachijskiemu Laudenbergerowi, który wystawił mały a prześliczny obrazek „Przed kąpielą“. Trzech swawolnych chłopców bawi się nad wodą, przed wejściem do kąpieli; — światło ześlizguje się z ich młodych ciał na lśniącą falę i drga w powietrzu, lekkiem, świeżem, wiosennem. Obraz zakupił książe panujący bawarski Luitpold. Nowa pinakoteka zakupiła też obraz jednego z najmłodszych. Jest nim „Wielki piątek“ Juliusza Ertera, obraz złożony z trzech części, — dwie boczne stanowią jakby dopełnienie srebrzystych, wykwintnych ram, w środkowej części klęczą na łące pod błękitnem nocnem niebem mężczyzni i kobiety, pogrążeni w modlitwie. Nad nimi Chrystus, niby obraz a niby wizya, od której bije światło. Dziwnie pomyślanym jest obraz Uhdego „O płaszcz Chrystusa“. Brutalni ludzie sprzeczają się o szatę Chrystusa. Widać te grube rysy mężczyzn, te martwe twarze kobiet, z których jedna dotknieniem ręki bada gatunek materyi Chrystusowej szaty. Czerwonawy ton obrazu jest czemś całkiem nowem u Uhdego — którego dotychczasowe kreacye malowane były jedynie w ciemnych, szarawych barwach. Nie wiadomo zkąd dostał się do przybytku secessyonistów, prześliczny obraz Maneta „Stary grajek“. Siwego, wiejskiego muzykanta otacza gromadka po murillowsku malowanych dzieci, wsłuchujących się w grę starego.

Najlepiej w tegorocznej secessyi reprezentowany jest pejzaż i portret. Widzimy tu jak nowoczesny malarz całkiem inaczej pojmuje naturę, niż dawniejszy, — widzimy że zbliżył się do niej i żyje w niej, — że zmysł jego zdaje się subtelniejszym i bardziej wrażliwym na pewne odcienia niż dotąd. Jednym z takich obrazów jest „Meeresleuchten“ Engla-Ciela, ciemna woda, po której sunie łódź, a w łodzi mężczyzna i kobieta. Tylko w miejscu gdzie młoda kobieta zanurza rękę w wodę, lśni morze fosforycznem magicznem światłem. Jest w tym obrazie poezyi dużo i prostoty dużo, — tak jak i w prześlicznym obrazie „Wieczór wiosenny nad brzegami Padu“ Ludwika Dilla. U Fanny Geiger i Emmy Liserke, malarek monachijskich, czuć też ten wpływ prądów nowych i szukanie natchnienia przedewszystkiem w naturze. „Wieczór“ jednej a „Jesień“ drugiej tchną bardzo subtelną harmonią barw.

Między portretami przedewszystkiem zwracają uwagę portrety Sambergera, który wytwornem pociągnięciem pędzla i śmiałością charakterystyki wyzwolił się już zupełnie z pod wpływu Lenbacha. Szczególniej udany jest portret Stucka o nadzwyczajnej sile w wykonaniu. George Santer występuje już na wystawie tegorocznej nie jako malarz początkujący, lecz jako skończony artysta. Tematem interesuje może najbardziej jego „Ordynacya u Kneippa“, pod względem artystycznym bardzo szlachetnie malowany jest obraz „Muzyka“ i „Przyjaciele“. Do portretu zaliczyć też trzeba obraz Sekerera, przedstawiający dwie Angielki, które przypominają nieco na szarem tle malowany o bardzo charakterystycznym wyrazie portret kobiecy Olgi Boznańskiej, zaliczonej w Niemczech i Francyi do najwybitniejszych artystów. Z kolonii polskiej spotykamy się jeszcze z p. Małgorzatą Kurowską i jej wiernym obrazkiem „Kollablüten“. Hirschenberg z Łodzi ma na wystawie obraz wsi polskiej, z resztą z naszych malarzy nie widać żadnego wśród secessyonistów. Zdaje się, że wystawa berlińska, gdzie „Die Polen“ mieli osobne sale, pochłonęła wszystkie wybitniejsze produkta naszej sztuki.

Z niemieckich debiutantów pierwszeństwo należy przyznać Hansowi Auersbergerowi, który ma na wystawie dwie głowy męzkie, malowane z taką miłością a przytem tak wiernie, bez wszelkiego idealizowania modelu, że przypominają spokojne a zamyślone twarze portretów holbeinowskich. Niedaleko obrazów Auersbergera wisi portret Herkomera, jedno z najpiękniejszych płócien jakie wystawa posiada i portrety pani Breslau z Paryża, pełne siły i wytworności w pojęciu; pani Breslau jest uczennicą Juliana, tego samego Juliana, z którego szkoły wyszła sławna a nieszczęśliwa malarka Marya Baszkirczew. —

Mówiąc o obrazach pięknych i obrazach ciekawych, nie można pominąć i tych, przed którymi ludzie stają i kiwają głowami. Są to obrazy najradykalniejszych między radykalnymi i najbardziej zagadkowych między zagadkowymi. Wobec panujących nowych prądów obrazy te cieszą się wielkiem uznaniem i admiracyą. W gruncie rzeczy jednak trudno zachwycać się sztuką, która na piedestale ideału artystycznego stawia ciemność, allegorye albo zagadkę. Jednym z takich obrazów jest „La destinée et l'humanité“. Twarz przeznaczenia niby wizya w środku obrazu. Na dole tysiące rąk wyciągniętych ku przeznaczeniu. Ten pomysł allegoryczny widzieliśmy już dawniej u Gabryela Maxa, jest ta chęć wyrażenia w rękach całego bólu, rozpoczy, beznadziejności i opuszczenia tysięcy. Pod względem techniki malarskiej płótno to należy do najświetniejszych, ale stojąc przed niem, mimowoli myślimy o owych błędnych ścieżkach, które z świątyni prawdziwej sztuki wiodą na bezdroża sztuczek i udanego mistycyzmu. Już wrażenie większej szczerości robi obraz belgiskiego malarza Kanopffa, którego „Vielleicht“ i „Ein blauer Flügel“ przemawiają wprawdzie językiem niejasnym symbolów, ale przytem pewną poezyą mgieł i tajemniczości.

Spacerując tak wśród sal secessyonistycznej wystawy, wpatrując się w te płótna jasne lub tajemnicze — udane i nieudane, — piękne i niesmaczne — czujemy w całej pełni życie tej nowej, tej młodej sztuki. A przed oczyma naszemi przesuwają się dawno niewidziane obrazy starych mistrzów. Widzimy Tycyana z jego pełnią i bogactwem barw,

---

chwili położył nań rękę, małą, brunatną rękę, a później nie mogłem się uwolnić od tego obrazu, że może w chwili, kiedy mu topór przyłożą na szyję, on palce wsunie pod niego.

Dozorców i jego zawołano do stołu. Byłem ciekawy, czy przezwycięży się do jedzenia. Ale jadł i rozmawiał na równi z drugimi, a mnie obawa opuściła na chwilę. Ale zaledwie wyszedłem na podwórze i zostałem sam, skupiłem moje myśli i dumałem nad tem, że jest jednak niesprawiedliwie, iż na słowa jej „Proszę, nie znęcajcie się nad nim“ — nikt nie zważa i zupełnie je pominięto. Musiałem pójść, ojcu to opowiedzieć; lecz on powolny i poważny z pisarzem małym ruchliwym przechadzali się po pokoju, rozmawiając głośno i głośną rozmową zagłuszając moje serdeczne obawy. Wymknąłem się znów i zbliżyłem do jego surduta i głaskałem go.

Przesłuchiwanie odbywało się u góry w naszej izbie szkolnej, nauczyciel mój był sekretarzem, a mnie pozwolili siedzieć i przysłuchiwać się. Pisarz używał swego głosu w ten sposób, że przez otwarte okno było go słychać na całym dziedzińcu; biedak musiał dawać sprawozdanie z całej niedzieli, której ją zamordowano, z każdej godziny tego dnia; zapierał się, przysięgał z całą stanowczością, że *on* tego nie uczynił. W badaniach sędziego przebijała się nietylko bystrość, lecz także pewna łagodność; poruszył Pera aż do łez, ale nie wydobył żadnego zeznania.

— Pozostaniemy tutaj długo — odezwał się sędzia zaraz pierwszego dnia do mej matki, po ukończonych przesłuchach. Ale pod wieczór ukazała się siostra Pera na podwórzu i została całą noc przy nim; słyszeliśmy ją błagającą i płaczącą, a rozpaczała bezustannie. Rano był Per blady i milczący; przed sądem wziął Per całą winę na siebie.

Sprawa cała miała się tak: objaśniał, że miał pewne obowiązki względem niej, a matka była jej bardzo przeciwna; spotkali się jednej niedzieli w lesie, kiedy ona z książką do nabożeństwa szła na mszą; usiedli i zapytał jej, czy i ona nosi się się z zamiarem, podania jego jako ojca dziecięcia, które ma się narodzić; w owej nędzy i rozpaczy szukała pociechy w modlitwie i mszy św. Odrzekła, że nie może innego podać. Mówił jej, co to za wstyd będzie dla niego, i że matka jego już dzisiaj nie posiada się z gniewu. Tak, i ona wiedziała o tem dobrze, że matka jego gniewa się na nią, a ze strony Pera dziwiło ją, że jej nie broni! on bowiem najlepiej poinformowany, z czyjej winy to wszystko się stało. Ale Per utrzymywał, że dla innych była równie uprzejmą jak względem niego i dla tego nie widzi przyczyny, żeby właśnie jego uznawała za ojca dzieciny. Próbował rozmaitych forteli, żeby ją rozgniewać; ale nie udawało mu się, była bowiem zbyt łagodną. Mimo wszystkiego zdecydował się na to. W trawie, na której siedziała, przechował siekierę, teraz ją wydobył i uderzył ją silnie w tył głowy. Nie zemdlała zaraz, ale poczęła się bronić i błagać o życie. Co się dalej stało, tego już nie wie; sam bowiem był kompletnie nieprzytomny. Na dalszy rozwój spraw przyjął tłomaczenie, które mu podsunięto. Siostra czekała na niego na dziedzińcu, dopóki nie wyszedł po przesłuchach, zapłakany i osłabiony; szli znów obok siebie i szeptali. Nie mogę zobie postaci tej dziewczyny uprzytomnić inaczej, jak przygarbionej i płaczącej.

* * *

Było to zimą, gdy go mieli ścinać. — Uwiadomiono go o tem krótko przed egzekucyą; wszyscy domownicy mieli pełne ręce pracy; ojciec miał przemówić do niego na miejscu stracenia, proboszcz zaś jako opiekun jego duszy i sumienia, i woźny powiatowy, mieli przybyć do nas dzień poprzednio.

Per, dozórcy, przyjaciel jego nauczyciel Jakobsen, wszyscy mieli spać razem w szkole; jemu i Jakobsenowi mieliśmy posłać jedzenie.

Przypominam sobie dokładnie jak pewnego dnia przyjechali z Moldy łodziami proboszcz, woźny powiatowy i zasądzony na śmierć. Ale mnie posadzili w szkole i przez cały dzień nie mogłem się ruszyć od książki.

Zakaz ten robił całą sprawę więcej tajemniczą. Ściemniało bardzo wcześnie, morze odbijało ciemnym kolorytem od białawego wybrzeża, chmury piętrzyły się; obawialiśmy się burzy. W tem wybuchł kominem na probostwie ogień, większa część żołnierzy rzuciła się w tamtą stronę, aby biedz z pomocą; wielką sikawkę wytoczono ze śpichrza; była niezwykle ciężka i wielka, nawet miano kłopot z ustawieniem jej, wreszcie ojciec mój utorował sobie drogę wśród tłumu, podbiegł do miejsca pożaru i uszykował ją. — Jeszcze do dzisiejszego

Holbeina o głębokiem a subtelnem zrozumieniu dusz ludzkich, Rembrandta z jego obrazami o wspaniałych nastrojach i mrocznem oświetleniu, — a wtedy czujemy, że cała ta nowa sztuka, z wszystkiemi swoimi sławnemi i osławionemi wielkościami, z wszystkiemi teoryami nowemi i hasłami nowemi, nie stworzyła nic, czego by już dawno nie było w wiecznie pięknych i w wiecznie nowych obrazach starych mistrzów. *L. R.*



Nowiny literackie z Berlina.

Nowości teatralnych, które zrobiły wrażenie, jest i w tym sezonie nadzwyczaj mało; nad przeciętny poziom wznoszą się tylko dwie sztuki: Philippi'ego „Droga cierniowa" przypomina sztuki francuzkie, obliczone na efekt i targanie nerwów. Młody człowiek okrada kasę i wyjeżdża w świat. Podejrzenie pada na kasyera, który też zbezcześczony wędruje do więzienia. Matka prawdziwego zbrodniarza, szlachetna, w miłości ku synowi zaślepiona, dowiaduje się o prawdziwym stanie rzeczy i nie ma siły wydać winnego. W tem konflikt dramatyczny. Aby bodaj w części naprawić winę, bierze ona do swego domu córkę niewinnie zasądzonego, opiekuje się nią, etc. — aż do chwili, w której do domu przybywa drugi jej syn, adwokat z zawodu, a pociągnięty urokiem biednej dziewczyny, zainteresowany przebiegiem procesu jej ojca, przychodzi do przekonania, iż zasądzony zarzuconej mu zbrodni nie popełnił. Postanawia tedy szukać prawdziwego winowajcy. Można sobie tedy wyobrazić całą gamę przerażenia i bólu matki; po wyjściu eks-kasyera z więzienia rzuca mu się do nóg i wyznaje całą prawdę. W nim budzi się uczucie zemsty. Na szczęście córka, która serce oddała młodemu adwokatowi, wstrząsa uczuciem biednego ojca.. Zasłona spada: przygnębienie, wiejące z treści sztuki, nas opuszcza; po chłodnej rozwadze widzimy, ile jest nieprawdy w sytuacyach, tudzież, że postawionego problematu etycznego autor wcale nie rozwiązuje.

Inne zadanie postawił sobie Ludwik Fulda. Autor ten wsławił się głównie satyrą „Talizman", graną także na polskich scenach, w której forma bajki dramatycznej daje mu sposobność do chłostania serwilizmu i śmieszności dworu. Obecnie obrał znowu sferę nawpół bajeczną. „Wyspa Robinsona" służy mu do okazania całej nieporadności charakteru i nicości moralnej ludzi, którzy, przyzwyczajeni do życia z cudzej pracy, do zbytków, fałszów i wygód, dostają się nagle na odludną pustynię. Milioner Castor, który z przybraną córką, z księciem, kandydatem do jej ręki i zaproszonem towarzystwem odbyła podróż naokoło świata, znajduje się niespodzianie, wskutek rozbicia okrętu, w miłem położeniu bohatera z romansu Daniela Defoe. Dowództwo nad zrozpaczonymi rozbitkami, wczorajszymi pieszczochami losu, obejmuje niedawno wzgardzony przez nich proletaryusz, zahartowany w szkole życia. Rok cały trwa jego panowanie, a Fulda pragnie przez ten czas okazać jego wyższość, a nicość, przesądy, śmieszności, zniedołężenie ludzi, przywykłych do komfortu, zepsucia i kłamstw współczesnej cywilizacyi. Sam pomysł sztuki jest oryginalnym i pięknym, w przeprowadzeniu atoli zabrakło autorowi siły. Zamiast szerokiej satyry, daje żarty i koncepty. Mimo to należy sztuka do bardziej interesujących i powinna pójść na deski jednego z naszych teatrów.

Ciekawą decyzyę powziął w tych dniach jeden z tutejszych trybunałów sądowych — nie ku swej sławie — w sprawie, która interesowała szerokie koła literackie. Bohaterem był znany w całej Europie pisarz skandynawski August Strindberg. Przed kilku laty wyszła tutaj w tłomaczeniu powieść jego p. t. „Spowiedź głupca", i zrobiła potężne wrażenie. Pisana w formie autobiografii, książka zionęła taką nienawiścią do rodu kobiecego, a szczególnie dzieje miłości, potem małżeństwa ,bohatera przedstawiała z taką nagością, z takiem naprężeniem uczuć, iż trzeba było ją poczytywać za jeden z najciekawszych „dokumentów" psychologii współczesnej, pisany z wysokim artyzmem. Prokuratorya ma atoli inne kryterya literackie. W książce wpadły jej w oko przedewszystkiem zbyt śmiałe obrazy z za kotary małżeńskiej, dzieło Strindberga zostało więc skonfiskowane, a tłomaczowi i nakładcy wytoczono proces. Sprawa ciągnęła się dotąd, obrońca dostarczył dowodu — przez urzędowe przesłuchanie świadków w Sztokholmie — iż Strindberg pisał istotnie spowiedź ze swojego małżeństwa nieszczęśliwego i manuskrypt przeznaczył początkowo li dla rodziny. Publikacyę przedsięwziął potem pod przymusem. Po tem ciekawem stwierdzeniu faktu, zajął się trybunał na dwóch posiedzeniach przestudyowaniem całego poważnego tomu — poczem zawyrokował, iż zawiera on treść niemoralną, mimo, iż autor niemoralnemi myślami się nie kierował. Cały nakład ma być zniszczony... Kryteryum artystyczne w grę wcale nie wchodziło.

W. F.





JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Królestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)



(Dokończenie).

Podczas gdyśmy tak siedzieli pod drzewem, zbliżył się do nas Henryk, żona i pani

---

dnia wspominają o tem w całej parafii, tak samo jak i o tem, że woźny powiatowy, mały, zręczny cygan, wziął w każdą rękę kadź od prania i wszedł na drabinę tak wysoko, że dostał się na sam szczyt dachu. — Ciemny fiord, niespokojne przesuwanie się chmur, płomienie i wrzawa, wszystko to było groźną i złą wróżbą ... a po zatem wielka ogólna cisza, ach i owe szepty w pokojach i na podwórzu, gdzie kilka osób spacerowało, patrząc na spokojne światło w szkole.

Tam siedział nauczyciel Jakobsen z swym przyjacielem; wracający z tamtej strony opowiadali, że śpiewają i modlą się wspólnie. Rodzina Pera przybyła pod wieczór łodzią, poszli do niego na górę i pożegnali się; skazaniec podobno był pełen nadziei, że na drugi dzień stanie przed obliczem Boga, upominał podobno wszystkich i prosił usilnie wszystkich, ażeby pozdrowili od niego matkę i do końca życia obchodzili się z nią dobrze. — Niektórzy opowiadali nawet, że i ona przybyła łodzią, ale nie chciała wejść do syna. Nie było to prawdą; tak samo jak było kłamstwem opowiadanie, że kilku członków rodziny asystowało przy egzekucyi. Obudziłem się rano niezmiernie przygnębiony i z wielkim strachem. Powietrze zmieniło się i było pogodne; ale mimo tego było jakoś duszno; nikt nie odzywał się głośno, a wszyscy mówili o ile mogli jak najmniej.

Miałem także asystować i przyglądać się ścięciu, i dlatego spieszyłem się, aby odszukać mego nauczyciela; ponieważ miałem rozkaz, żeby być pod jego opieką. Obaj duchowni — proboszcz i ojciec mój — zjawili się w rewerendach, zeszliśmy do przystani i przepłynęliśmy łodziami jednę czwartą drogi.

Skazaniec i jego otoczenie pojechali naprzód i czekali na nas u przystani, ażeby ostatni kawałek drogi do miejsca stracenia iść piechotą. Ścięcie miało nastąpić na rozstajnej drodze, a w całej okolicy tylko *jedna* się znajdowała, i to w Eidsvaag mniejwięcej o milę od miejsca mordu oddalonem. Woźny powiatowy rozpoczynał korowód, za nim postępowali żołnierze, dalej skazaniec, otoczony z jednej strony proboszczem, z drugiej moim ojcem, następnie postępował Jakobsen i mój nauczyciel, a ja pomiędzy nimi, potem gromada rozmaitych ludzi, a kończyli cały szereg znów żołnierze. Szliśmy ostrożnie po ślizgiej drodze; kapłani rozmawiali bez przerwy z tem niezwykle bladym człowiekiem; oczy jego były zmęczone, a wyrażały taką łagodność, mówił bardzo mało. Matka moja, która go otaczała pieczołowitością i okazywała wiele dobroci, a której on serdecznie za to dziękował, dała mu na drogę butelkę wina, aby się mógł pokrzepić; kiedy nauczyciel mój podał mu wina, po raz pierwszy spojrzał na księży; pragnął się od nich dowiedzieć, czy to nie jest grzechem. Ojciec mój przypomniał radę, jaką Piotr dał Tymoteuszowi — a on usłuchał i napił się sporo.

Wzdłuż drogi stali ludzie, którzy byli ciekawi oglądać go, a następnie złączyli się z całym pochodem; pomiędzy nimi byli także jego rówieśnicy, których ukłonami ze smutkiem żegnał; kilkakrotnie też uchylał czapki. tej samej płaskiej czapki, którą miał, kiedym go widział po raz pierwszy. Było widoczne, że przyjaciele jego mieli do niego powne przywiązanie: widziałem też młode kobiety, które płakały i wcale nie kryły się ze swemi łzami. Szedł z rękoma na piersiach złożonemi, prawdopodobnie modlił się. Gdy przybyliśmy na miejsce, oziębiająco na nas oddziałał grzmiący kapitana głos: „baczność"! Wojsko ustawiono otwartym czworobokiem, który się zamknął, gdy woźny okręgowy, duchowni i skazany i kilka osób w środek jego weszło. Do tych ostatnich i ja należałem. Zebrał się tutaj wielki, milczący tłum ludu, a ponad wszystkich sterczał sołtys w trójkątnym kapeluszu, na koniu. Rozpoczęło się wszystko odczytaniem przez sołtysa wyroku i królewskiego rozkazu. Sołtys stał nad grobem, pokrytym gładkiemi deskami, na końcu tych desek ustawiono pień: po drugiej stronie grobu zbudowano małe wywyższenie, z którego miał przemawiać proboszcz. Per Hagbö klęczał na stopniu, głowę pochyloną ukrył w dłoniach, klęczał tuż przy nogach duszpasterza. Proboszcz był Duńczykiem, jeden z tych niewielu, którzy przy podziale udali się do Norwegii: mowy jego były na papierze znakomite, ale niełatwo wzruszenie, mianowicie wtenczas, gdy go wzruszenie opanowało, a do tego nie wiele było potrzeba. Wtenczas to ostatnie słowa bardzo głośno wymawiał, potem jednakże tulił głowę między ramiona, potrząsał nią ciągłe, mrużył oczy i w przerwach wybełkotał kilka niewyraźnych słów. Kołnierzyki wysokie, sięgające mu po za uszy, — nigdy nic podobnego nie widziałem — powiewały mu nad gładko wystrzyżoną głową, a ramiona jeszcze ponad owe kołnierzyki się

Halina, i zasiadłszy obok nas na trawie, przyłączyli się do rozmowy, która poszła dalej tym samym torem. Z powodu iż niema tu oficerów, wyższych urzędników, polityków i w ogóle wydatniejszych ludzi Polaków, wszystkie względy kobiece, przypadające w innych krajach tym mężom w udziale, dostają się w Polsce przeważnie autorom i wszelakim artystom. Niema miasta na świecie, gdzieby nie było kilku ludzi takich, których kochają wszystkie kobiety mające serca niezajęte; taki człowiek jest rodzajem przytułku dla tych biednych serc, błąkających się bez celu. Tu w Polsce przytułkiem takim jest Henryk Sienkiewicz, jakkolwiek liczy lat około pięćdziesięciu i powierzchowność jego nie może zaliczyć się do wybitnych. Sławie jednak swojej i podziwowi, jaki wzbudziły jego pisma, zawdzięcza to odznaczenie, że marzą o nim prawie wszystkie kobiety, co tem dziwniejsze, że nie jest poetą i nie napisał ani jednego(?) rymowanego wiersza*). Gdy przybędzie do licznie odwiedzanej klimatycznej stacyi w górach tatrzańskich, lub do Warszawy, robi się zaraz ruch ogromny pomiędzy kobietami, począwszy od babek a kończąc na dzieweczkach uczęszczających do szkoły. Niestety jednak, niezmiernie mało jest on wrażliwym na tego rodzaju odznaczenia i nie ubiega się wcale o nie. Nawet niepowodzenie jego w małżeństwie nie zmniejszyło otaczającego go uroku. Ożenił się on niedawno po raz drugi z 18letnią panienką, ze sfer najwyższych; urządzono wszystko tak, by to małżeństwo możliwie wiele miało rozgłosu: Kardynał związał ręce stułą młodej parze w krakowskim katedralnym kościele, Papież przesłał jej swoje błogosławieństwo, cała arystokracya była obecną temu ślubowi, ale zaledwie upłynęło kilka tygodni, młoda pani porzuciła swego męża i wróciła pod opiekę matki.... Ogół kobiet jednogłośnie ją potępia.

Żywiej jednak i goręcej niż dla jakiegokolwiekbądź człowieka biją serca tych kobiet miłością wielką, natchnioną, dla Ojczyzny, żadne uczucie nie jest w nich nad to silniejszem, są w stanie ponieść największe ofiary dla patryotycznych celów, czego też nieustannie dają dowody. Pewnego dnia zdarzyło mi się słyszeć tu w towarzystwie wychowanego w Anglii obywatela Polaka, utrzymującego, iż brak obecnie uczuć patryotycznych w Polsce. Mężczyzni zaprzeczyli mu wprost, lecz panie, — była to istna komedya dla patrzącego — z zaiskrzonemi oczami, z zarumienionemi policzkami otoczyły go kołem, a głosy ich drżały z oburzenia, gdy nań napadały. Rozgniewana, jedna z najmłodszych pań zawołała do niego: „Obiecałam panu, że go zabiorę napowrót w moim powozie, nie chcę teraz, możesz pan iść sobie piechotą“. —

Zgodziliśmy się też wszyscy na to, że gdyby ten święty płomień miłości ojczyzny nie gorzał tak silnie w sercu polskiej kobiety, dawno już nieprzyjaciele tego kraju wygraliby sprawę, gdyż żaden inszy naród na świecie nie ma takich ciężarów do dźwigania — i potężnej siły potrzeba, by nie uledz tym otaczającym go ze wszech stron rozlicznym prześladowaniom.

Położenie Polaków jest takiem, że każdy nowy pomysł czyjkolwiek, obrócony przeciwko nim, daje się przeprowadzić, każda nędzna osobistość, mająca ochotę do zużytkowania swych zdolności ma otwarte pole do działania względem nich nieprzyjaźnie.

Bardzo rzadko się zdarza, iż przypadek odkrywa, jakto miało miejsce w zeszłym roku, podobną działalność i pozwala szerszym kołom wejrzeć w rzeczy, które się bezkarnie niemal codziennie przytrafiają. Student, nazwiskiem Hendigery, uczęszczający do tutejszego uniwersytetu, poznawszy miejscowe stosunki, postanowił z tych skorzystać i bądź co bądź jakimkolwiek kosztem zrobić karyerę.

Zaczął tu pisywać do gazet i z najlepszemi rekomendacyami udał się do Krakowa. Przystojny, zręczny, jeden z tych łotrów, którym się zawsze udaje, bo poczciwi ludziska myślą, że tacy znajdują się tylko w nędznych romansach, wystąpił w Krakowie jako ofiara prześladowania rządu rosyjskiego i był tam najserdeczniej przyjęty, czego dowodem, iż zaledwie po miesiącu znajomości ożenił się z ładną i majętną córką zacnego i przejętego patryotycznemi uczuciami profesora. Ale natychmiast po przybyciu H. zaczął prowadzić korespondencye z przedstawicielami policyjnej władzy w Petersburgu, którym objawił, że będzie w stanie złożyć w ich ręce dowody przeciw wszystkim wybitniejszym ludziom w Warszawie, dając przytem do zrozumienia, że nie wskutek nieostrożności tych ludzi, ani należenia ich do jakichbądź antirządowych spisków, lecz tylko dzięki jego własnemu sprytowi i wyjątkowemu uzdolnieniu znajdzie się materyał oskarżający. Propozycyę jego przyjęto chętnie. Zaopatrzony w sfałszowany paszport, udał się on w podślubną podróż, ze swą młodą małżonką do Petersburga, — jakkolwiek miała to być wycieczka na południe, — miał audyencyę u szefa tajnej policyi i w porozumieniu z nią przygotowywał potrzebne kroki.

Po powrocie do Galicyi zaczął się niezmiernie interesować kopalniami, odwiedzał górników, niby to w celu zbadania ruchu robotniczego, w istocie zaś by się zaopatrzyć w dynamit, gdy zas po pewnym czasie przyszedł do posiadania dostatecznej dla swych celów jego ilości, zrobił ni mniej ni więcej jak 150 paczek palnego materyału, które zaadresował do tyluż osobistości, widocznie wskazanych mu przez władze rosyjskie, w Warszawie. Paczki te pozaszywał w ubranie człowieka, któremu zapłacił sowicie za przeniesienie ich przez granicę Tymczasem gdy się to działo, władze austryackie zwróciły uwagę na dziwne zachowanie się jego. Wiedziano iż wyjechał niby na południe, lecz natychmiast ztamtąd udał się do Petersburga, wiedziano iż chętnie odwiedza kopalnie i przestaje z górnikami, postanowiono więc sprawdzić jak rzeczy stoją, i aresztowano jego posłańca, nim dotarł do ru-

*) W literaturze skandynawskiej wszyscy wydatniejsi autorowie są zarazem poetami.

---

wznosiły i poruszały nad głową: długie ćwiczenie sprawiło, iż umiał je wyżej podnosić niż każdy inny śmiertelnik. Kto go nie znał — a znać go, znaczyło tyle co kochać go! — nie mógł się wstrzymać od śmiechu. Mowy jego nie słyszano i nie rozumiano, lecz była krótka, musiał ją przerwać ze wzruszenia. Tylko j e d n o pojęli wszyscy, przywiązał się do bladego młodzieńca, którego przygotował na śmierć, a życzył, aby wszyscy tak radośnie i spokojnie opuszczali świat ten, jak on dzisiaj. Gdy zeszedł z wywyższenia uściskali się na pożegnanie. Per podał następnie ojcu memu rękę i kilku innym. potem stanął obok przyjaciela swego Jakobsena; zrozumiał on co to znaczy, wydobył chustkę i obwiązał oczy Pera, mówiąc do niego cicho, otrzymując ciche od niego odpowiedzi. Ktoś się zbliżył, aby Perowi związać ręce na plecach, lecz on prosił, aby tego nie czyniono; życzeniu jego stało się zadość. Jakobsen wziął go za rękę i wyprowadził naprzód. Tam, gdzie Per miał uklęknąć, przystanął Jakobsen, a Per powoli zgiął kolana. Jakobsen trzymał go jeszcze za rękę i pochylił się nad nim, aż głowa jego spoczęła na pieńku; potem cofnął się i złożył ręce do modlitwy. Widziałem to, spostrzegłem też, jak do Pera przystąpił wysoki mężczyzna i obnażał muszkuły jego karku, a inny wydobył z chusty nadzwyczaj ostry topór. Wtenczas się odwróciłem. Usłyszałem strasznie brzmiące słowa: „prezentuj broń“ — posłyszałem jak ktoś mówił „Ojcze nasz“ — może to Per sam był, — potem uderzenie, akby kto ciął w głowę kapusty. W tej chwili podniosłem oczy; spostrzegłem jak jedna z nóg drgnęła; o kilka stóp od ciała leżała głowa, a usta jej kurczowo się poruszały. Pomocnik kata przyskoczył, schwycił za rogi chustki i rzucił głowę do ciała; deski były położone na trumnie, zdjęto je prędko, ciało też zaraz w niej spoczęło, potem spuszczono trumnę do grobu. Teraz wszedł ojciec mój na wywyższenie; rozumieli go wszyscy, a potężny jego głos rozbrzmiewał tak daleko, że dziś sobie jeszcze opowiadają o tem w parafii. Gromową wymową przestrzegał on młodzież przed nałogami, którym się oddawano w tej okolicy: przed pijaństwem, pieniactwem, wszetecznictwem i innemi namiętnościami; kazanie musiało się słuchaczom bardzo spodobać, gdyż na drodze do domu skradziono mu je z kieszeni rewerendy.

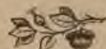
Na mnie samym egzekucya takie wywarła wrażenie, iż zdawało mi się, że nie zadługo i mnie ta kara spotka; później mówiłem z wielu innymi, którzy mieli zupełnie to samo uczucie. Ojciec mój i proboszcz jedli obiad u kapitana razem z innymi urzędnikami, lecz przyszli prosto z obiadu do domu.

Proszę jednak wystawić sobie przerażenie moje, gdy siedząc w kącie — nikt na mnie nie zważał — usłyszałem, jak proboszcz mym rodzicom opowiadał, że Per zeznał we więzieniu przy najświętszym Sakramencie, iż nie on zawlókł dziewczynę do stromej skały i nie on ją zrzucił, jeżeli zaś proboszcz żąda, może mu wymienić sprawcę. Proboszcz jednakże odrzekł mu, że tylko z nim ma do czynienia! Później słyszałem jak w parafii wszędzie mówiono, że matka namówiła Pera, aby zgładził dziewczynę z tego świata, jeżeli nie chce podać kogo innego za ojca dziecka nieprawego. Mówiono też, że Per ranił ją siekierą i starał się ją zrzucić, lecz zaniechał zamiaru i uciekł; poczem się zbliżyła matka i dokonała czynu. Za matkę więc poniósł śmierć, to było to, do czego go siostra zniewoliła; ta też była tajemnica, która go wiązała tak ściśle z Jakobsenem, to też było przyczyną, iż proboszcz tak się do niego przywiązał, — tak ja sobie później kombinowałem.

Opiszę też tych, którzy w dniu owym przy wyroku zastępowali króla i sprawiedliwość, — nie opiszę ich z nazwiska, lecz z charakteru. Kapitan był mężczyzną pełnym życia i siły, brał udział w naszych ostatnich dwóch wojnach, lecz był tak obojętnym na wszystko, co miało styczność z moralnością, iż oskarżano go ostatecznie o zbrodnię tak oburzającą, iż nie chcę jej tutaj wcale wymienić; nie ukarano go wprawdzie, lecz nikt o jego winie nie wątpił. Sołtys dostał się na dziesięć lat do domu karnego za oszustwo w urzędzie, człowiek ten już wtenczas nie był bez winy, gdy z innymi jadł obiad; mój ojciec o tem wiedział. Woźny okręgowy drapnął za morze, a gdy przejrzano jego rachunki i papiery, pokazało się, że pół parafii straciło swoje pieniądze; na nikogo w całej okolicy, po śmierci, tak nie wymyślano jak na niego.

Minęło już przeszło pięćdziesiąt lat od tego czasu; od owej chwili w Norwegii zmieniło się wiele.

KONIEC.



skiej granicy. Rewizya w jego mieszkaniu wykazała mnóztwo listów i telegramów z Petersburga, które, jakkolwiek redagowane z niezmierną oględnością, odkryły blizkie i poufne stosunki polityczne „ofiary“ z jej prześladowcami. Wynikł z tego wielki proces, a młoda jego żona, zaledwie w pięć tygodni po ślubie, dowiedziała się, kogo zaślubiła. Rosyanie wyparli się naturalnie wszelkich z Hendigerym stosunków, ten zaś został skazany na 10 lat ciężkiego więzienia, w którym dotąd pozostaje. Była to chybiona gra na wielką stawkę.

Ze cesarz nie zawsze wie, w jaki sposób system państwowy jest za stósowanym w Polsce, wykazała to dowodnie tegoroczna sprawa w Krożach, gdzie z okazyi zabrania na cerkiew kościoła katolickiego popełniono zabójstwo i sieczono nahajkami lud broniący doń przystępu. Jedna z rosyjskich księżniczek, bawiąca za granicą, wyczytała opis tego zajścia w tamtejszych pismach i wysłała wycinek gazety w liście prywatnym do cesarza. Ten, nie wierząc by to było prawdą, wysłał ówczesnego ulubieńca swego ks. Kantakuzena na miejsce, dla wyjaśnienia sprawy, lecz trzeba wydarzenia, że jenerał-gubernatorem tej części kraju, w której się znajdują Kroże, był jenerał Orżewski, dobry przyjaciel i kolega Kantakuzena. Rzecz załatwiła się przyjaźnie pomiędzy nimi i K. powrócił do Petersburga z wiadomością, że wszystko to było śmieszną przesadą, że użyto siły względem para chłopów, którzy stawili opór władzy, lecz nie uczyniono im żadnej szkody, oprócz, że może któremu z nich poszła krew z nosa. Sprawa ucichła, lecz księżniczka podrażniona tem, iż zaprzeczono jej doniesieniu, dostarczyła dowodów na poparcie swego twierdzienia. Wtedy Orżewski stracił posadę*) Kantakuzen zaś wydalony z granic Rosyi, pojechał do Paryża gdzie wkrótce umarł.

Cudowny był wieczór, słońce zasuwało się zwolna za zasłonę z ciemnych chmur, bramując każdy obłok złocistym rąbkiem, dokoła cisza, którą przerywały tylko krzyki młodych przepiórek, płoszonych przez goniące się po polu pudelki pani Maryi. Ostatni to był wieczór, któ y spędzałem w tych stronach, to też rozglądałem się po okolicy, którą niepredko zapewne na nowo ujrzeć miałem. „Wróć do nas — wróć niezadługo! rzekł do mnie Henryk — nie znudzisz się przy bibliotece zawierającej 8000 tomów, a jeśli zechcesz czegoś innego, powiedz mi, a sprowadzę zanim przyjedziesz“. — „Nie zapominaj pan o nas, lecz wróć na rok przyszły — dodała pani Marya. Znamy się już od lat dziesięciu; a przyjaźń łącząca nas, nie osłabła, lecz wzmagała się bezustannie. Przyjedź dla ludzi, nie dla książek, nigzie może nie masz sobie życzliwszych“. Młody ksiądz się uśmiechnął i dorzucił swoje serdeczne słówko: „Będziemy znów z panem bronić Jezuitów przed starym R....iczem i dyskutować nad księgami proroków, by się w końcu zgodzić na jedno, że jednak jest coś ponad próżnościami“. — Ach! przyjedź pan — zawołała p. Halina, i odezwij się znów do nas w sali ratusza, zbierzemy się tłumnie i z całego serca pana oklaskiwać będziemy. Nie zapominaj o nas“. A wiatr szemrał w liściach wysokiej topoli: Nie zapominaj nas, nie zapominaj! Cała Europa już o nas zapomniała, ty nie zapomnij o tym sympatycznym i bogato obdarowanym narodzie, co czuje tak głęboko, marzy tak silnie i kocha tak gorąco. Nie zapominaj o ziemi, w którą tyle szlachetnej krwi wsiąknęło, o kraju opuszczonym od Boga i prześladowanym przez ludzi. Nie zapominaj!

*) Nieprawda, bo dotąd ją zajmuje, a młody cesarz udarował go nawet nowym orderem. Przyp. tł.

Nędza ślązka.

Niemcy, znani ze swej pohopności do odszukiwania ździebeł w cudzych oczach, lubią rozwodzić się w najczarniejszych barwach o ubóstwie Irlandyi, rzucając kamyki a niekiedy brukowce do ogrodu Anglii. Miłość ku bliźniemu i nieskończona dobroć serca dyktują im również współczucie dla znękanej Sycylii. Barbarzyńscy Anglicy i bezsercowi Włosi! — woła kulturträger. Lecz kto w szklannym gmachu siedzi, niech nie rzuca kamieniami... Niechże Niemcy wyjmą belkę ze swych oczu, a wtedy ujrzą u siebie Irlandyę! Wszak każdy przyzna, iż Ślązk może co do nędzy dorównywać temu krajowi. Jak djabeł święconej wody, tak niemiecka prasa obawia się samej wzmianki o Ślązku, który obciąża jej sumienie. Pisma zaczynają mówić o tym kraju dopiero wtedy, gdy żywioł słowiański w sposób bezpretensyonalny podnosi głowę i protestuje przeciwko swemu ubóztwu wyborem posła z pośród ludzi miejscowych, chcąc, by ten zaniósł przed reprezentacyę niemieckiego narodu skargę pomiatanego kopciuszka. Wtedy prasa niemiecka budzi się i ryczy, jak byk rozdrażniony widokiem czerwonej chusty. Dzwony alarmowe huczą z całej siły, by obudzić czujność germańczyków ze względu na niebezpieczeństwo, grożące im ze strony Słowian, ich odwiecznego wroga.

Litość dla Ślązka wstępuje w serce germańskie w wypadkach wyjątkowych. Tak, przed kilkunastu laty Virchow, delegowany dla zbadania przyczyn srożenia się tyfusu głodowego, wskazał swoim rodakom na ekonomiczne upośledzenie Ślązaków, jako na przyczynę ich niedoli. Niemiecka prasa, bijąc się w piersi, wołała: „peccavi!“.

W tych dniach w jednem z pism krańcowej lewicy ktoś uchylił rąbek zasłony, która zakrywa przed Niemcami nędzę Ślązka. „Wobec Górnego Ślązka wszystko blednie — wykrzykuje autor. — Dostatecznie rzucić przelotne spojrzenie na kilku przechodniów, by nabrać pojęcia o bezmiarze nędzy szląskiej. Zamiast odzieży, rzucają ci się w oczy łachmany, a w najlepszym razie spostrzegasz ubiór brudny, łatany i wytarty. Coś, co przypomina bardzo obuwie, jest błotem, które obległo nogę. Tego naturalne go obuwia nie zmienia Ślązak i w dzień świąteczny. Najdobitniej mówi koścista i wychudzona twarz, na której brak wszelkiego śladu myśli, z której apatya i przygnębienie nigdy nie schodzi. Ci tylko, co od czasu do czasu zaglądają na dno kieliszka, stanowią swem ożywionem obliczem, że się tak wyrażę, pocieszający wyjątek. Z mokrej, błotnistej sieni, wysłanej zgniłą słomą i odpadkami od królewskich uczt Ślązaków, prowadzi otwór, wielce przypominający drzwi do mieszkania. Oczywiście, wyraz tego rodzaju jest wolnością poetycką. Bo jakże nazwać mieszkaniem jaskinię troglodyta, w której znajduje się legowisko, w postaci pęku zgniłej słomy. Na tem łożu Madejowem powierza pieszczotom Morfeusza swe skołatane członki cała rodzina, nie zdejmując nietylko wyżej wspomnianego obówia, lecz i swej, że się wyrazimy delikatnie, garderoby. „Niekiedy, oprócz legowiska, znajduje się w mieszkaniu i komin dla gotowania strawy“. Naratorska zdolność autora okazała się za słabą dla oddania szczegółów tej strawy.

O godz. 4 rano wstaje ślązki górnik, by udać się na swą dwunastogodzinną pańszczyznę, która daje zarobek, wynoszący mniej więcej naszego rubla. Dręczone ciało i więziony w smutku a ciemności duch, szukają zapomnienia w alkoholu, tym haszyszu wszystkich paryasów. Autor podaje swoje rozmowy ze Szlązakami, których opowieści brzmią, jakby bajki z „Tysiąca i jednej nocy“. Trzeba nader potężnej fantazyi, by odtworzyć tak harmonijny pod wszelkiemi względami obraz nieludzkiego istnienia i beznadziejnej rozpaczy.

Ze zdziwieniem dowiedział się autor z ust swych interlokutorów, iż są tam zupełnie nieznane przepisy państwowe, dotyczące pracy w fabrykach i kopalniach. Wskutek zupełnej ciemnoty najmitów przepisy te pozostają martwą literą, gdyż miejscowi królikowie, nie czując znikąd presyi, nie kwapią się zbytnio z wprowadzeniem w życie odpowiednich ustaw. Państwo jest bezsilne wobec ślązkich feodałów industryi, którzy, jakby urągając prawodawstwu społecznemu, nie znają żadnych granic, oprócz granic swego własnego apetytu, gdy idzie o wyzyskiwanie „płci pięknej“ i dzieci. Za jednę markę pracują kobiety po dwanaście godzin dziennie przy ładowaniu węgli, nie przerywając swej pracy podczas skwaru, deszczu lub mrozu! A obok nich uwija się bosonoga dziatwa, nie znająca wiosny dzieciństwa. Małoletnie te istoty, o wyglądzie skrofulicznym, oddychając pyłem węglanym, dzielnie dotrzymują towarzystwa swym matkom i siostrom. Po tej ciężkiej pracy kobiety i dzieci pokrzepiają swe siły suchym chlebem, popijanym niekiedy wódką. Pańszczyźniana praca, upokorzenie, troska, głód, choroba, ciemnota i wszelkie inne egipskie i nieegipskie plagi, — oto nici, z których los tka wzorzystą kanwę życia obywatela Górnego Ślązka. *U.*

Z estrady i sceny.

Odczyt J. Kotarbińskiego
o sztuce aktorskiej.

Odczyt p. Józefa Kotarbińskiego, wygłoszony na rzecz kasy pomocy artystów teatru naszego pozostanie na długo miłem wspomnieniem dla inteligencyi naszej. Był on dla nas Poznańczyków rzadką i cenną sposobnością słyszenia rzeczy nowych, zajmujących, stanowiących istotny dla słuchaczy umysłowy nabytek.

Kotarbiński łączy w sobie wszystkie pożądane u prelegenta przymioty, głębokie i wszechstronne wykształcenie naukowe, umysł jasny i samodzielny, styl barwny i nieporównaną dykcyą. Mówiąc o wykładzie jego, niepodobna pominąć tej ostatniej zalety, gdyż ona znakomicie przyczynia się do uwydatnienia wszystkich innych. Głos dźwięczny, donośny a zarazem giętki o modulacyi subtelnej odtwarza wiernie każdy zwrot myśli, każde wrażenie i uczucie. Głos ten tłomaczący tak dobitnie treść wykładu jest sam przez się prawie argumentem, działa na słuchaczy jak sugestya, mimowoli ulega się jego wpływowi.

Nie to jednak *jak* mówił, ale to *co* mówił stanowi główną wartość jego wykładu. — Temat swój zgłębił autor wszechstronnie.

Praktyka sceniczna odsłoniła przed nim wszystkie tajemnice sztuki aktorskiej, jej stronę techniczną i psychologiczną, poważne studya naukowe dały mu obraz jej historycznego rozwoju i społecznego znaczenia.

Dzięki temu słuchacze obecni na jego odczycie mogli się dość dokładnie zapoznać z kwestyą zajmującą, ciekawą, a umiejętnie przedstawioną.

Krótki rys historyczny stanowił wstęp do wykładu: Widowiska teatralne będące

pierwotnie częścią obrzędów religijnych, powoli tylko zdobywają stanowisko odrębne. W niektórych społeczeństwach rozwój ten odbywa się samodzielnie, teatr odbija na sobie cywilizacyjny poziom i charakter narodu. U nas nie tak się rzeczy miały; nie wytworzyliśmy własnych form widowisk teatralnych, lecz gotowe przyjęliśmy od narodów zachodnich. Teatr polski był importem zagranicznym, przybył do nas wraz z obyczajem cudzoziemskim i cywilizacyą europejską. Jeżeli obejmiemy całość sztuki dramatycznej w pośród sztuk pięknych, naznaczyć jej musimy pierwszorzędne miejsce. Odtwarza ona życie najplastyczniej, najdobitniej, najsilniejsze też wywołuje wrażenie działając równocześnie na zmysł wzrok i słuch, na wyobraźnią, uczucie i umysł. Jednakże sztuka aktorska stanowi tylko cząstkę sztuki dramatycznej i bynajmniej naczelnego w niej miejsca nie zajmuje. Nie jest ona sztuką twórczą lecz sztuką wykonawczą; aktor w takim jest mniejwięcej stosunku do autora, jak wirtuoz do twórcy kompozycyi muzycznych. Mniejwięcej, gdyż i tego porównania zupełnie ściśle brać nie można; muzyk obejmuje całość danego utworu, artysta dramatyczny odtwarza tylko cząstkę, tylko jednę postać dramatu lub komedyi. Z tego względu właśnie prelegent nie godzi się na przyznawanie nawet najznakomitszym artystom dramatycznym miana geniuszu. Jakkolwiek psychologia nie określiła jeszcze dokładnie pojęcia geniuszu — ogólnie jednak używa się tego wyrażenia dla określenia pewnej twórczej potęgi ducha ludzkiego, potęgi, która wyprzedza rozwój umysłowy epoki toruje nowe drogi, otwiera nowe widnokręgi. Rola pomocnicza, zależna, sztuki aktorskiej nie daje pola do wykazania genialności w całem rozumieniu tego wyrazu. Odzywają się jednak w innym kierunku zapatrywanie skrajne, pragnące aktorom odmówić prawa do nazwy artysty. I z tem również zgodzić się nie można. Aktor, jak każdy inny artysta, dla spełnienia swego zadania koniecznie musi posiadać przedewszystkiem talent — i to talent nie pozbawiony pewnej twórczości, choć się ta ostatnia tylko w skromnym, ściśle ograniczonym zakresie rozwijać może. Jestto twórczość dopełniająca, służy ona do uplastycznienia myśli autora, do wykończenia jej i rozwinięcia nawet, jeśli typy wykonywanego utworu nakreślone są szkicowo. Od rysunku roli zależy mniejszy lub większy zakres działania wykonawców. — Jeżeli autor wykończył starannie postacie bohaterów swoich, jeśli je jasno w najdrobniejszych wyrzeźbił szczegółach, artysta najlepiej wywiąże się ze swego zadania, gdy jak najwierniej wskazówkom twórcy posłusznym będzie. We współczesnych, realistycznych dramatach najczęściej praca aktora na tem ograniczyć się może. — Są jednak w poezyi dramatycznej typy kreślone ogólnikowo, zaznaczone zaledwie szerokiemi rysami i te właśnie dają wykonawcom pole do rozwinięcia pewnej indywidualnej charakterystyki. Do takich np. należy rola Hamleta, którą w bardzo rozmaity sposób pojmować i odtwarzać można. — Dzięki owej twórczości dopełniającej udawało się niekiedy znakomitym aktorom zabłysnąć talentem nawet w drugorzędnych rolach lub utrzymywać na scenie utwory miernej wartości, jeśli tylko zawierały role dające pole do wykazania pewnego wirtuozostwa.

W skład talentu dramatycznego wchodzą różne psychologiczne czynniki. Elementarną jego podstawę stanowi zdolność symulacyjna, którą w stanie pierwotnym spotykamy już u dzieci, gdy w zabawach swoich odtwarzają czynności i ruchy osób starszych, udają gości, podróżnych, żołnierzy i t. d. — Dalej oprócz warunków zewnętrznych: głosu, ruchów, potrzebną jest intuicya, zdolność odczuwania różnych wrażeń, przejęcia się rozmaitością odtwarzanych sytuacyi, wreszcie wiara artystyczna, którą w wysokim stopniu posiadać muszą również talenty twórcze, a której przykładem wybitnym był Balzac. — Znaczenie tego pierwiastku uwydatnia znakomicie wyrażenie Zółkowskiego, który wzbraniając się przyjąć ofiarowanej mu roli mówił dla usprawiedliwienia się: „ja go nie widzę“.

Nawiasem dodamy, że nieudolność autora częstokroć stawia nieprzełamane zapory dobrej woli wykonawców. „Widzieć“ można tylko typy psychologicznie prawdziwe, a przynajmniej możliwe. Toczono nieraz spory i o to, czy wykształcenie potrzebne jest artystom dramatycznym. — Nie zastąpi ono niewątpliwie talentu, zdarza się za to naodwrót, że wielkie talenty umieją się ze swego zadania dobrze, a nawet świetnie wywiązać bez pomocy wykształcenia. Jednakże tylko na pewnym dość ciasnym repertoarze ról ograniczać się muszą ci, których wszechstronne wykształcenie zaniedbanem zostało. Do takich samorodnych talentów zalicza prelegent Zółkowskiego, którego kreacye publiczność warszawska długo pamiętać będzie, choć istotnie nie wychodziły one poza zakres pewnego rodzaju typów komedyi. — Nawiasem zauważymy, że sprawozdawca „Kuryera Poznańskiego“ zupełnie zbytecznie broni Żółkowskiego wobec prelegenta, sądząc, iż tenże zarzucał mu egoizm i głupotę. Pan Kotarbiński twierdził, iż niezapomniany ulubieniec warszawskiej publiczności był znakomitym *przedstawicielem* egoizmu i zadowolnionej ze siebie głupoty na scenie, a ktokolwiek widział Żółkowskiego w jego najlepszych rolach, w komedyach Fredrowskich np. — ten bezwarunkowo na określenie to zgodzić się musi. — Bardzo trafnie scharakteryzował p. Kotarbiński różne współczesne talenta sceniczne, przypominając ich najznakomitsze kreacye. Zauważył słusznie, iż sztuka aktorska więcej niż którakolwiek inna ze sztuk pięknych, więcej niż sama literatura dramatyczna — jest narodową. Już właściwości języka wpływają na odmienną dykcyą, odmienny sposób interpretacyi u różnych narodów; temperament rasowy przyczynia się do pogłębienia różnic.

Gdy mowa o teatrze, spotkać się można z bardzo sprzecznemi poglądami. Jedni radzi w nim widzieć świątynię, szkołę moralności, dobrych obyczajów, przybytek ideałów narodowych, inni uważają go za rodzaj budy jarmarcznej, służącej wyłącznie do zabawy, podsycającej zdrożne lub nizkie instynkta. Oba te pojęcia krańcowe są błędne. Słusznie bardzo prelegent zaznacza, iż sztuka i moralność rozwijają się niezależnie i mają całkiem odrębne pole i zadanie. Nie należy też wymagać od teatru, aby stawiał sobie wyłącznie etyczne zadania.—Słusznem jest może twierdzenie, iż sztuka dramatyczna podsyca namiętności, namiętność jednak nie jest bynajmniej pogardy godnym w społeczeństwie czynnikiem. Bez namiętności nie byłoby ani życia, ani walki i ruchu, ani rozwoju. Teatr dążący do właściwych sobie, wyłącznie estetycznych celów, spełnia w każdym razie bardzo ważną cywilizacyjną misyą i nie będąc szkołą moralności, jest w każdym razie instytucyą pożyteczną, uszlachetniającą.

Odwrotną stronę medalu stanowi życie zakulisowe, mające wiele stron mniej ciekawych. Każda biesiada, jak dowcipnie prelegent zauważył, piękniej przedstawia się w jadalni niż w kuchni, ktoby zaś zechciał zajrzeć do kuchni polityki, dziennikarstwa itd., zapewne równie mało budujące jak za kulisami odniósłby wrażenie.

Autor zakończył wzmianką o roli kobiety w teatrze. Scena jest może jedynem polem, na którem kobieta nietylko zupełne osięgnęła równouprawnienie, lecz może nawet większe niż mężczyzna ma szanse. Aktorki kolegom swym dorównywają talentem, często przewyższają ich nawet, co zawdzięczają zapewne swej naturze kobiecej, giętkiej, wrażliwej, uposażonej większą zdolnością udawania. Pracowitością również odznaczają się kobiety w teatrze, co przypisać można w najczęstszych wypadkach raczej ambicyi niż miłości do sztuki. Zawód sceniczny z trudnością godzić może kobieta ze spełnieniem swego powołania w rodzinie. Byłoby też niesprawiedliwością stawiać artystkom pod względem specyalnie kobiecej moralności zbyt surowe wymagania. — Zważywszy same warunki ich pracy, ciągłe podniecenie nerwów, konieczność zawodową podobania się i wzbudzania zachwytu, nie należy się dziwić, jeśli w życiu prywatnem nie zawsze ściśle się trzymają panujących reguł obyczajowych — jeśli zaś tylko szczerze miłują sztukę, są dobremi koleżankami i obywatelkami kraju, nie powinno się im odmawiać szacunku. —

Na zakończenie zadeklamował artysta ustęp z pięknego wiersza Asnyka, poświęconego Helenie Modrzejewskiej. Publiczność dziękowała gorącemi oklaskami.

I. Moszczeńska.

(Występy Józefa Kotarbińskiego: „Marco Spada“, „Hrabia Essex“, „Romeo i Julia“.)

Szanowny Redaktorze!

Żądasz odemnie sprawozdań z dalszych występów Kotarbińskiego. Posłuszny będę Twemu życzeniu, bo chociaż nie próbowałem dotychczas sił moich w krytyce teatralnej, to wiem aż nadto dobrze, że nie święci garnki lepią, zwłaszcza w Poznaniu. Naturalnie przyjąć musisz te pierwociny zdolności czy nieudolności mojej krytycznej z dobrodziejstwem inwentarza i nie szukać w nich głębokości poglądów Lemaitre'a ani wytrawności sądu Sarcey'a.

Rozpocznę mój „maid-speech“ od nowości, od „Marka Spady“ Rovetty. Przypominasz sobie, że nie raz rozwodziliśmy się nad Girolamem Rovettą, najwybitniejszym reprezentantem włoskiej szkoły werystów i zgadzaliśmy się na to, że jego „Nieuczciwych“ („Il disonesti“) zaliczyć wypada do najwybitniejszych płodów współczesnej realistycznej literatury dramatycznej. O całe niebo niżej od „Nieuczciwych“ stoi „Marco Spada“. Sztuka ta sprawia więcej wrażenie felietonu dziennikarskiego lub nowelki niż dramatycznego obrazu. Same niewykończone, szare kontury, bez nerwu i życia, bez właściwej akcyi i rozwiązania.

Muszę Cię jednak, choć w ogólnych tylko zarysach, zapoznać z treścią tej nowości. Bohatera do swego utworu wyszukał sobie Rovetta w świecie dziennikarskim. (Widocznie stajemy się „hoffähig“, przynajmniej we Włoszech.) — Dziennikarza tego zaszczyca swą „przyjaźnią“ margrabina Julia Dalga. - Szczęśliwi ci włoscy nasi koledzy! — Co prawda oprócz Marka Spady piękna margrabina obdarza swemi względami całą galeryę osobników; w ogóle każda jednostka płci brzydszej, choć — sit venia verbo — silniejszej, zjawiająca się w domu Julii Dalga, staje się jej kochankiem. Z tego stosunku miłosnego pomiędzy dzielnym, pełnym zapału i poszanowania dla swego zawodu i swej godności osobistej publicystą a ladacznicą z wyższego świata wysnuwa się konflikt dramatyczny, o ile o konflikcie w sztuce Rovetty może być mowa. Sam motyw choć niezupełnie nowy, jednak nadzwyczaj wdzięczny. Nie wyzyskał go zbyt szczęśliwie włoski werysta, rozdrabniając zapowiadającą się tak obiecująco akcyę na mnóstwo oboje-

tnych, banalnych szczegółów, pomiędzy któremi jedynie walka redaktora z wydawcą, pracy z kapitałem, kończąca się naturalnie kompletną porażką pracy, wzbudzić może cokolwiek żywszy interes i to w specyalnych tylko sferach.

Nie brak w „Marku Spadzie“ żywiołu tragicznego. Bohater odtrącony przez swą margrabinę, której w poczuciu dziennikarskiego obowiązku obronić nie chciał przed skandalem, upada także w walce z politycznymi przeciwnikami, odmawiającemi mu jako mniemanemu oszczercy honorowej satysfakcyi i pozbawiającymi go środka obrony, nabywając jego dziennik od szubrawca wydawcy. Upadek ten jednak bohatera nie rozczula ani przekonywa widza, za mało jest umotywowany; a co ważniejsze, przyczyna wywołująca katastrofę grzeszy wołającą o pomstę banalnością.

Jednej jednak i to poważnej bardzo zalety trudno odmówić ostatniej nowości naszej sceny. Rovetta nie darmo zalicza się do wybitnych werystów. Sztuka jego odznacza się prawdą. Bezbarwny to, pospolity szmat życia, który roztacza przed naszemi oczyma ale prawdziwy. Bezbarwną i pospolitą jest w największej liczbie wypadków rzeczywistość. Nie wolno zaś zmuszać autora, aby budował swe utwory na wypadkach wyjątkowych. Prawdą tchnie zarówno tło, jak ożywiające je figury. Sądzę, że z figur tych zainteresuje Cię przedewszystkiem główna postać kobieca. Bardziej jednolity charakter mężczyzny narysuje jako tako i średnich zdolności autor dramatyczny. Stanowiący główną cechę talentu dramaturga dar obserwacyi i zdolności ucieleśnienia swych spostrzeżeń na scenie ujawnia się głównie w rysunku psychologicznym tak niepochwytnego, skomplikowanego charakteru kobiety. Mało kto pozna dokładnie kobietę; a wyjątkowi tylko autorowie zdobywają się w swych utworach na zgodny z prawdą jej wizerunek.

Margrabina Julia jest kobietą-demonem. Nie oznaczałoby to zbytniej oryginalności autora. Mniej lub więcej demonicznych kobiet przesunęła się zwłaszcza w ostatnich czasach cała armia przed naszemi oczyma. Bohaterka Rovetty z tego jednak względu przewyższa większą część efektowniejszych może swych poprzedniczek, iż jest daleko prawdziwszą, bo wykazuje wszelkie cechy demonaladacznicy. W życiu zaś niepodobieństwem jest prawie pociągnąć granicę, gdzie się u kobiety kończy demoniczność, a zaczyna łajdactwo.

Czas jednak największy zakończyć te rozprawy moralne. Być może, że zalety dramatu Rovetty uwydatniłyby się lepiej, i w ogóle cała sztuka przedstawiła się w daleko korzystniejszem świetle, gdyby jej wykonanie na naszej scenie nie było tak fatalne. Tego rodzaju utwory, ubogie w momenty jaskrawe, rzucające się samo z siebie w oczy i umysł widza, wymagają koniecznie długiego i mozolnego przygotowania, starannego wystudyowania każdej sytuacyi, każdego niemal słowa. Lepiej nie dawać ich wcale, jeżeli się nie ma czasu ani możności do sumiennej ich wystawy.

Występ Józefa Kotarbińskiego w roli tytułowej „Marka Spady“ nie był zbyt fortunny. Artysta to niepospolity ale w kostyumie, w roli bohatera tragedyi. Filisterski tużurek krępuje widocznie jego wspaniałe, bohaterskie gesty tak samo, jak filisterska atmosfera współczesnego domu nie pozwala mu wyzyskać należycie niezrównanych zalet dykcyi, domagającej się przestrzeni, olbrzymich, sklepionych sal królewskich... Przyznajemy chętnie, że artysta położył nie mało starań, aby widzów natchnąć własnym życiem, aby uczynić możliwie zbliżonym do prawdy swego bohatera. Wysiłki te jednak poszły na marne. Jego Marco Spada ani w części nie dorównywał Hamletowi, Urielowi lub Esseksowi.

Gra p. Vernon w roli margrabiny Julii była nierówna. Ta artystka jest kokietką, lecz tylko kokietką. Wszystko — budowa, twarz, oczy, temperament, finezya, wskazują jej role kokieteryjne jako wyłączny zakres działania. Tymczasem rola Julii przepełniona jest wysoce dramatycznemi akcentami, domagającemi się siły, którą w dostatecznym stopniu nie rozporządza p. Vernon. Nie przynosi to zresztą żadnej ujmy artystce, nie każdy bowiem jest geniuszem uniwersalnym. Nie chcę jednak stawiać zarzutów gołosłownych. W akcie, jeśli się nie mylę, trzecim, jest scena, w której margrabina wypędza ze swego domu kochanka. Otóż przynajmniej moja małość, znajdując się w położeniu Marka Spady, nie usłuchałaby tego rozkazu, gdyby przedmiot mych gorących afektów wskazywał mi drzwi w tak mało stanowczy i mało przekonywający sposób, jak to uczyniła p. Vernon. Swoją drogą przyznać trzeba, że sceny czysto kokieteryjne odegrała p. Vernon znakomicie.

„Les extrêmes se touchent“. Świat cały oddziela „Marka Spadę“ Rovetty od „Esseksa“ Laubego. Tu prawda bez systemu, tam system bez prawdy. Tu wierny, choć bezładny i niewykończony obraz życia, tam szumnym lecz pustym patosem przepełnione wspomnienia dziejowe. Rola jednak tytułowa w sam raz przykrojona dla Kotarbińskiego. Owiany mgłą średniowiecznego romantyzmu bohater tragedyi Laubego w świetnej interpretacyi niepospolitego artysty porywał formalnie widzów; już na zewnątrz dzięki mistrzowskiej charakteryzacyi sprawiał wrażenie germańskiego bożka lub normandzkiego zdobywcy krajów i serc kobiecych. Rolę Esseksa zaliczyć wypada do najlepszych w repertoarze Kotarbińskiego. Najefektowniejszą jest bezwarunkowo, pozwala mu bowiem w głównych scenach szafować do woli bogactwem wspaniałego organu, jakim go obdarzyła przyroda, a przytem z niezrównanym artyzmem odtworzyć doskonały obraz męzkiej siły i energii. Siła zaś stanowi, zdaniem mojem, główną, najwybitniejszą cechę talentu Kotarbińskiego.

Lecz nie sama tylko siła! Jako Romeo zdobywał się artysta na akcenty rzewnej tkliwości. W scenach miłosnych z Julią drgała w jego głosie cała skala uczuć, począwszy od nieśmiałej prośby, a skończywszy na namiętnem pożądaniu. Klasyczny bohater miłości w grze znakomitego artysty nabrał wszelkich cech prawdy, był stylowym, a mimo to i dla dzisiejszej generacyi zrozumiałym kochankiem.

Servus.

KRONIKA LITERACKA

*** Nowe pisma w Galicyi.** Czytamy w „Kraju“ petersburskim:

„Związek literacki“ nietylko się zreorganizował na nowo, nietylko powiększył znacznie liczbę swych członków, nietylko przeniósł się do lokalu dogodniejszego, ale postanowił zrobić ważny krok naprzód na polu swej działalności. Już na pierwszym zjeździe literatów w Krakowie w r. 1883 poruszono myśl wydawnictwa pisma ściśle informacyjno-literackiego, Macosze traktowanie literatury prz z dziennikarstwo galicyjskie myśl tę utrzymywało ciągle na powierzchni. „Związek“ postanowił ją przeprowadzić i już od Nowego Roku wychodzić będzie jego nakładem miesięcznik p. t. „Przegląd Literacki“. Oprócz artykułów, rzucających światło na rozwój, kierunek i potrzeby naszej literatury, najważniejszą rubrykę nowego pisma stanowić będą krótkie informacyjne sprawozdania, o ile możności ze wszystkich dzieł literackich, ukazujących się w naszym języku. Zaniedbana w ostatnich czasach w „Kwartalniku Historycznym“ bibliografia czasopism ma odżyć na nowo w łamach „Przeglądu“. Osobny dział informacyjny będzie skrzętnie notował biograficzne i bibliograficzne wiadomości, prace dokonane i przedsięwzięte. Prócz tego znajdzie się miejsce na rubrykę dla literatur słowiańskich, któremi tak mało dotychczas się zajmujemy. Redakcyę „Przeglądu„ obejmie p. Roman Zawiliński, a współpracownictwo przyrzekł prawie cały świat literacki krakowski. Pismo to powinni wogóle popierać i wiadomościami zasilać wszyscy nasi literaci, ażeby się stało obrazem naszego ruchu literackiego. Przysłanie wiadomości literackiej lub krótkiego objektywnego sprawozdania z jednej lub paru książek, nie zabierze nikomu dużo czasu, a przyczyni się do podniesienia wartości pisma. Ponieważ dzienniki i pisma perjodyczne wogóle będą mogły korzystać z materyału dostarczanego im przez „Przegląd“, przeto redakcye we własnym interesie powinny go popierać moralnie. Tak samo i wydawcy będą mieli interes w dostarczaniu „Przeglądowi“ swych nowości, gdyż ten poniekąd stanie się pośrednikiem pomiędzy nimi a publicznością.

Wogóle na polu wydawniczem zapowiada się pewien ruch w Krakowie. Oprócz „Dziennika Porannego“, który już rozlepił plakaty, obwieszczające, iż zacznie wychodzić od d. 1 grudnia, rozeszły się pogłoski o założeniu dziennika przez grono finansistów. Zdaje się także być pewnem, że z Nowym Rokiem rozpoczną swój żywot „Kłosy“ pismo tygodniowe ilustrowane, coś w rodzaju „Biesiady Literackiej“, z większym naciskiem na aktualność. „Kłosy“ mają być wydawane przez spółkę literacko-artystyczną, której ostateczna organizacya jest już kwestyą tylko kilku dni czasu. Natomiast ma zejść z widowni „Krakus“, pismo dla ludu, wychodzące od czterech lat nakładem akcjonaryuszów spółki wydawniczej. „Krakus“ rozpoczął swój żywot od 1200 prenumeratorów, zdawało się więc, iż w ciągu paru lat stanie się najwięcej poczytnem pismem ludowem. Tymczasem liczba prenumeratorów nietylko nie wzrastała, ale spadła do 600, a pismo (nie poruszam przyczyn) stało się przez lud prawie znienawidzone. Upadek „Krakusowi“ ułatwi mające powstać inne pismo ludowe, pod egidą i pod redakcyą duchowieństwa. Jeżeli przyjdzie ono do skutku, będzie mógł „Krakus“ wycofać się z honorem, to jest, będzie mógł napisać: ponieważ pismo w tymże samym duchu i kierunku powstaje, przeto niechcąc mu czynić konkurencyi, ustępuję dobrowolnie z placu.

*** Niemcy a siódme przykazanie.** Sporo przez 25 lat napisano o skrzętności Niemców w gromadzeniu „pamiątek“ podczas kampanii 1870 r. Wskutek tego pisania dobrze też wiedzieli mieszkańcy tak Europy, jak Ameryki, oraz innych części świata, czytającą ludność posiadających, że po ukończeniu wojny, można było w państwie „miłości bożej i dobrych obyczajów“ założyć kilkanaście sklepów z samemi li tylko pamiątkowemi zegarkami. Tak przynajmniej głosiła fama, a famie tej zdobywcy Paryża procesu za oszczerstwo nie wytaczali.

Ale czego nadto, to i za dużo. Przez 25 lat cierpliwie znoszono zegarkowe podejrzenie, dopóki francuzki jenerał, Munier, nie wygadał się drukiem, że tam komuś po wizycie pruskiego oficera zabrakło w szufladach bielizny. Z oburzenia zawrzało nad Sprewą, jak w ulu. A ty taki, owaki, wołano na francuza i żądano akcyi dyplomatycznej, aby zamknąć raz na zawsze usta niegodziwcowi. Wreszcie uspokojono się, gdy urzędowo zawiadomiono pruskich patryotów, iż obrażać się nie potrzeba, bo ów

Munier, to zwykły szubrawiec, skazany już raz przez sądy francuzkie za oszczerstwo. I nastała cisza — jutrzenka radości weszła na oblicza germańskie.

Są jednak niemcy tacy i tacy. Do rzędu tych ostatnich należy znakomity historyk Karol Bleibtreu, który bynajmniej się nie czuje pokrzywdzony w swych patryotycznych uczuciach, jeżeli któremu z jego rodaków udowodnią, że jest zwolennikiem teoryi przenoszenia cudzych ruchomości do własnej kieszeni. P. Bleibtreu sądzi, iż takich teoretyków znaleźć można pod każdym stopniem szerokości geograficznej, a więc i w jego niemieckiej ojczyźnie. Jego własny ojciec, znakomity malarz, był naocznym świadkiem w r. 1870, jak niektórzy członkowie armii pruskiej czynnie protestowali przeciw siódmemu przykazaniu. Również pastor Klein, chociaż niemiec, opisując bitwę pod Worth, nie zachwycał się poszanowaniem przez niemców cudzej własności. Dla czego więc, mówi Bleibtreu, miałby Munier kłamać, zwłaszcza, iż zaczerpnął fakt z doniesień urzędowych. Prawda, że skazano go raz za oszczerstwo, ale wyrok go nie hańbi, bo ten, którego dotknął swem słowem, okazał się wkrótce w sprawie panamskiej większym łotrem, aniżeli sam Munier przypuszczał.

Ta obrona Munier'a przez Bleibtreu'a jest zaiste więcej zaszczytną dla niemców, niż szowinistyczne krzyki, jakie podnieśli przeciw francuzkiemu jenerałowi.

* **Słówko o Hulewiczu.** Do licznego zastępu nazwisk polskich mniej lub więcej już znanych w literaturze cudzoziemskiej, przybyło nowe p. Kaz. Hulewicza. Nazwisko to coraz częściej w ostatnich paru latach pojawia się na szpaltach francuzkich czasopism, otoczone promiennym nimbem paryzkiej krytyki bulwarowej. Mamy obecnie przed sobą *„Paradoxal"* prześlicznie wydany u L. Sauvaitre'a, 300-stronnicowy tom nowych i dawniejszych utworów p. H., z portretem autora na czele. W poprzedzającej to dziełko przedmowie, p. Charles Fuster tak się odzywa o swym koledze po piórze: „Wizje somnambuliczne, zarazem pełne gwałtowności i rezygnacyi stwierdzają przynależność p. H. do jego rasy. Głęboki podziw jednak jego dla geniuszu naszego kraju, mistrzowstwo, z jakiem włada naszym językiem, nadają mu prawo zaliczenia się do prawdziwych poetów naszych".

W pierwszej części dzieła, noszącej tytuł *„Paradoxal"*, przeniesiony na całą książkę, znajdzie czytelnik wszystkiego potrosze: zręczna djalektyka i paradoksalność przeplata się tu z fantazyą poetycką, najdelikatniejsza finezya stylowa przechodzi nieraz w ryzykowną śmiałość wyrażeń, a myśl obleka się w tak dwuznaczne formy, iż spostrzedz granice między powagą a żartem nie zawsze łatwo. Dalszą część książki wypełniają dawniej już wydane utwory p. H. *„Passionnel"*, *„Suprême folie"*, *„La morte"* znane z dawniejszych wzmianek o nich w „Kraju". Pozostaje jeszcze przytoczyć wyjątek z wyjaśnienia, jakie p. H. przesyła w odpowiedzi na pytanie Alfonsa Daudet'a: dlaczego dla wyrażenia swych myśli, obcą posługuje się mową?

„Si j'écris le francais — et je l'écris bien mal —
C'est qu'on l'a ciselé d'azur et de cristal".

Zazdrościć francuzom p. Hulewicza, dotąd jeszcze chyba nie mamy dostatecznej podstawy, w każdym razie jednak szkoda dla samego p. H., że owych lazurów i kryształów nie może się dopatrzyć w swej ojczystej mowie.

* **Dr. Asmus Soerensen.** Dnia 22 października rb. habilitował się w uniwersytecie lipskim jako docent prywatny p. dr. Asmus Soerensen, dotychczasowy nauczyciel w szkole przemysłowej w Kamienicy saskiej (Chemnitz). Jako pracę habilitacyjną ogłosił rozprawę pod tyt.: „Entstehung der kurzzeiligen serbo-kroatischen Liederdichtung im Küstenland", — a na prelekcyą wstępną wybrał temat: „Der polnische historische Roman der Gegenwart".

P. dr. Asmus Soerensen pracuje od dłuższego czasu nad gramatyką polską, która obejmować będzie około 30 arkuszy druku, a na którą przyjmuje prenumeratę w ilości 6,50 m. Publiczność polska powinna poprzeć to wydawnictwo liczną prenumeratą.

P. dr. Soerensen miał prócz tego zamiar wydawania w języku niemieckim kwartalnika poświęconego sprawom polskim („Polnische Revue"), nie znalazłszy atoli dostatecznego poparcia u samych Polaków, postanowił „Przegląd polski" zamienić na „Przegląd Wschodnio-europejski" („Osteuropäische Revue"), który ma zamiar wydawać od 1-go stycznia 1897 r. w kwartalnych zeszytach po 10 arkuszy druku za roczną prenumeratą 12 mr. I to wydawnictwo powinno z naszej strony doznać sympatycznego przyjęcia i gorącego poparcia, bo p. dr. Soerensen daje gwarancyą, że „Przegląd" swój redagować będzie bezstronnie i bez uprzedzenia dla spraw słowiańskich, a szczególnie dla spraw polskich. Interes nasz wymaga, aby świat niemiecki mógł się o nas informować z bezstronnego, a umiejętnie kierowanego czasopisma. *Z. C.*

* **Der Militarismus im Deutschen Reiche.** Eine Anklageschrift von einem deutschen Historiker. Stuttgart. Robert Lutz. 1895.

Krytyka militaryzmu, choćby ze stanowiska demokratycznej burżuazyi, jest zawsze pożądanym objawem. Professor Quidde, głośny onego czasu autor broszury „Caligula", która w Niemczech całych wywołała ogromną sensacyę, uskutecznił obecnie nowe wydanie swej broszury, ogłoszonej w czasach, kiedy to w parlamencie niemieckim toczyła się walka przeciw wojskowym przedłożeniom. Wydanie to dawniejsze rozszerzył autor, cytując oprócz dawniejszych faktów, świadczących o rozbestwieniu istniejącem w armii, fakta świeżej daty. Mówi autor o braku prawa uskarżania się, o barbarzyńskiej sprawiedliwości wojskowej i t. p. Zajmuje są również uwagi autora o demoralizującym wpływie rezerwowych oficerów na urzędników cywilnych, które naturalnie nie tylko ma miejsce w Niemczech, ale także i gdzieindziej. Autor stoi na stanowisku takiem, jakie w ogóle zajmuje demokratyczna burżuazya względem militaryzmu.



KRONIKA POWSZECHNA.

Teatr i muzyka. Znana publiczności poznańskiej śpiewaczka p. Marta Jankowska zaangażowana została do opery lwowskiej. Śpiewaczka ta występowała w najświeższym czasie z wielkiem powodzeniem w operze królewskiej w Berlinie. — P. Józef Kotarbiński zamierzał wystąpić na poznańskiej scenie w cennym utworze Brandesa p. t. „Odwiedziny". Dyrekcya jednak nie zgodziła się na wystawienie głośnej tej sztuki, ze względu na „drażliwość" jej treści. — W Warszawie odegrano z świetnem powodzeniem czteroaktowy dramat A. Konara p. t. „Gąsienice." — Według zapowiedzi przedsiębiorcy teatralnego Abbey Gran wchodzą do trupy nowojorskiej oprócz braci Reszków następujące artystki: Marcelina Sembrich-Kochańska, Georgina Januszewska (sopran) i Róża Olicka (mezzosopran). — Na scenie lwowskiej debiutowali z powodzeniem p. Janina Jankowska i p. Michał Tarasiewicz. — P. Zygmunt Przybylski uscenizował śliczną nowellę Sienkiewicza p. t. „Ta trzecia".

W sprawie dra. Gałęzowskiego. O zachowaniu się dra. Gałęzowskiego wobec Wszechnicy Jagiellońskiej tak się wyraża warszawska „Gazeta Lekarska": Czy słusznie postąpiła wszechnica Jagiellońska, chcąc powierzyć katedrę prof. Gałęzowskiemu, rzecz to osobistego poglądu. Według naszego zdania nie był to pomysł szczęśliwy, bo katedra wymaga sił młodych, świeżych, niezużytych, a prof. Gałęzowski, lubo jest lekarzem wielkiej wziętości w praktyce, wielkiego powodzenia, nie mógłby już dzisiaj z dostatecznym zapałem i energją wziąść się do spraw nauczania i sprawie tej najlepsze swe siły poświęcić. Że sam prof. Gałęzowski przerachował się ze swemi siłami, mamy najlepszy w tem dowód, że zmniejszając stopniowo swą ofiarność, poświęcić chciał wykładom w Krakowie tylko kilka tygodni i to wakacyjnych.

Kiedy ostatecznie układy się rozbiły i spełzły na niczem, zdawało się, że prasa w imieniu społeczeństwa żal ku prof. Gałęzowskiemu i pewną obrazę wyrazi. Stało się ku wielkiemu naszemu zdziwieniu zupełnie przeciwnie. Nie tylko prasa brukowa, ale i pisma poważniejsze potępiły nie prof. Gałęzowskiego, ale wszechnicę. Więc nie człowiek do sławnej szkoły, ale szkoła do niego ma się przystosować; więc ograniczyć należy wykłady bardzo ważnego przedmiotu do czasu zupełnie niewystarczającego, zmienić ustawę i zwyczaje szkolne, studentów podczas wakacji w mieście przetrzymywać, dobierać pomocników na resztę semestrów aby tylko zachować pozór wykładów prof. Gałęzowskiego? Zdaje się, że w każdym razie wszechnica Jagiellońska przyniosłaby więcej zaszczytu prof. Gałęzowskiemu, mianując go swoim professorem, aniżeli on kiedykolwiek zdołałby jej przynieść. —

Na zakończenie dodamy, że zupełnie niewłaściwym wydał się nam adres, jaki młodzież wszechnicy do Gałęzowskiego wysłała, aby go ostatecznie nakłonić do przyjęcia katedry, adres, który, rzecz prosta, skutku spodziewanego nie przyniósł. Adresem tym młodzież ubliżyła sobie, bo młodzież ucząca się może chylić czoła tylko przed wielką potęgą myśli, albo przed wielkiem poświęceniem, wielkiemu powodzeniu hołdów nieść nie powinna.

— **Dla Księgarzy.** W Warszawskim „Przeglądzie tygodniowym" czytamy: Księgarze warszawscy skarżą się coraz więcej na brak uzdolnionych pomocników i w ogóle na obniżenie poziomu wykształcenia wśród młodych pracowników księgarskich. Skoro się skarżą, więc tak też być musi, ciekawą wszelako byłoby rzeczą dociec przyczyn owe narzekania wywołujących. Spróbujemy je wyszukać. Fach księgarski w branży kupieckiej tworzy tak odrębną gałąź, że wymaga wyłącznego raz na zawsze poświęcenia się tej pracy. Trudno być także dobrym księgarzem bez podstaw więcej, niż średniego wykształcenia. Rothner, słynny pisarz w tej materyi, nazywa księgarza „pośrednikiem pomiędzy nauką a życiem" i w słowach tych jest niewątpliwie dużo racyi. Jednakże do tego „pośrednictwa" trzeba czegoś się nauczyć. W naszych warunkach, dobra znajomość czterech języków jest dla pomocnika księgarskiego prawie nieodzowną, nie mówiąc już o tem, że bez znajomości literatury (a przynajmniej bibliografii) także obejść się nie można. W mniejszych księgarniach, gdzie dział nut nie posiada specyalistów, wymagana jest również pewna rutyna. Dojść do tego nie jest łatwo; wielu potrzeba lat mozolnej pracy, ażeby ten cel osiągnąć. Jakiż jednak będzie tego rezultat, prócz zadowolenia kupującego i właściciela księgarni? Materyalnie — żaden. Roczne wynagrodzenie takiego mola nie przeniesie 600 do 720 rubli, przy dziesięciogodzinnej pracy. Pomocników, otrzymujących więcej niż 1,000 rs. rocznie, można w Warszawie na palcach jednej ręki policzyć Czyż więc się dziwić, że młodzieniec z sześcioklasowem (najniżej) wykształceniem, ze znajomością języków, woli obrać inny zawód, w którym dojść może do daleko znośniejszego bytu? Nam to wydaje się jasne! Dlatego też, zamiast skarg, uważalibyśmy za jedyną drogę wyjścia podniesienie wynagrodzenia, pozbycie się nieużytków i zostawienie uczniom księgarskim kilku bodaj godzin tygodniowo do uzupełniania swego wykształcenia. Innej drogi wyjścia nie widzimy.

Odpowiedzi Redakcyi.

— **N. 100 N.** Nie otrzymaliśmy ani listu ani gazety.

— **Bronisław S.** Polecam „Zarys najnowszej literatury polskiej" Piotra Chmielewskiego. Wydanie trzecie. — Denuncyacya zamieszczona w wiadomem piśmie nie uszła uwagi naszej; zdaje nam się jednak, że korzystniej jest sprawy nie rozmazywać.

OD ADMINISTRACYI.

Szanownych Czytelników naszych nie zbierających kompletu pisma naszego uprzejmie i usilnie prosimy o łaskawe odstąpienie nam następnych numerów pisma.

rok I nr. 17. } *po 2 egz.*
rok II nr. 37, 42, 43, 44. }

Za każdy numer administracya zapłaci 30 fenigów i zwróci koszta przesyłki.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego" w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 49. Poznań, niedziela 8-go grudnia 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22 II p. **Administracya:** Piekary nr. 6. **Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

„Przewrót z góry“.

Wiadomości o rozwiązaniu 11 stowarzyszeń socyalistycznych, a w ich liczbie 6-ciu stowarzyszeń wyborczych, silne wywarły wrażenie i zaniepokoiły wszystkie partye polityczne, — wyjąwszy stronnictw kartelowych.

Policya berlińska w rozporządzeniu odnośnem powołuje się na § 8 ustawy związkowej z dnia 11-go marca 1850 r., zarzucając organizacyi socyalistycznej, iż wbrew przepisom tejże ustawy, jako stowarzyszenie polityczne, wchodziło w związek z innemi tegoż charakteru stowarzyszeniami dla popierania wspólnych celów.

Jest rzeczą wprost w oczy bijącą, że na tej samej zasadzie zniesione by być mogły, a nawet powinny, organizacye wyborcze wszystkich innych partyi, gdyż wszystkie rozciągają swą działalność na cały obszar państwa, tworzą komitety centralne, prowincyonalne i podkomitety, będące w ścisłym związku z zarządem partyi. Wszystkie te organizacye istnieją stale, nie tworzą się ad hoc na czas wyborów i to jedynie umożliwia stronnictwom sprężysty i konsekwentny kierunek, a zarazem zapobiega w okresach przedwyborczych nadmiernym niepokojom i nieporządkom.

Stosowanie owego paragrafu (8) do organizacyi wyborczych tak dalece krępowałoby życie polityczne ludów w skład cesarstwa wchodzących, tak jest przeciwne charakterowi konstytucyi, że jeszcze w tejże samej ustawie z roku 1850, pod § 21, powiedziano wyraźnie, iż towarzystwa wyborcze nie podlegają zastrzeżeniom § 8-go. — Następnie zaś w ustawie dla parlamentu niemieckiego z roku 1869 paragraf 17 stwierdza, iż: „uprawnieni do wyborów mają prawo tworzyć towarzystwa dla roztrząsania spraw wyborczych, tyczących parlamentu oraz mają prawo odbywać bez broni w miejscach zamkniętych publiczne posiedzenia“.

Nie podlega wątpliwości, iż istnienie organizacyi socyalistycznej, zarówno jak istnienie wszelkich innych organizacyi stronnictw, wiadomem było policyi berlińskiej, że zgromadzenia socyalistyczne odbywały się jawnie od lat wielu bez przeszkód ze strony rządu.

Nie donoszono też w ostatnich czasach o żadnem specyalnem zajściu, o żadnych wybrykach socyalistów, któreby to niezwykłe rozporządzenie policyi tłomaczyły. Należy nawet przypuszczać, że w porze obecnej, gdy władze rządowe bardzo nieprzychylnie do socyalistycznego stronnictwa się odnosiły, gdy mu otwartą wypowiadały wojnę, członkowie jego tem większą zachowywali ostrożność w stosowaniu się do przepisów istniejących, nie chcąc i tak zagrożonej sytuacyi lekkomyślnem postępowaniem pogorszyć.

To też rozporządzenie prezesa policyi berlińskiej a raczej jego bezpośredniego zwierzchnika, ministra Köllera, uważać należy jako jeden z epizodów tej walki, którą od roku toczą władze rządowe przeciw socyalnym demokratom, wzywając do współudziału wszystkie stronnictwa podtrzymujące porządek państwowy. (Staatserhaltende Parteien).

Walka ta dotychczas wychodziła jedynie na korzyść socyalistów, a szczęście bezwarunkowo nie sprzyjało rządowi.

Już rok temu poniósł on stanowczą porażkę przy otwarciu parlamentu, gdy zamierzony proces przeciw posłom socyalistycznym pod naciskiem większości izby prawodawczej cofnąć był zniewolony.

Niefortunna ustawa antiprzewrotowa sprawiła, iż w czasie ostatniej kadencyi parlamentarnej bynajmniej nie sprzyjające socyalistom stronnictwa wystąpić musiały w ich obronie, zagrożone utratą najcenniejszych swobód konstytucyjnych.

Ryzykowny krok ministra Köllera dziś w chwili otwarcia parlamentu, wytwarza dla rządu sytuacyę równie drażliwą i równie niekorzystną, jak ta, w której się znalazł przy obradach nad antiprzewrotową ustawą.

Postanowienie prezesa policyi nie może mieć decydującego znaczenia. Zgodnie z brzmieniem ustawy, stowarzyszenia przekraczające przepis paragrafu 8-go mogą być zamknięte tylko tymczasowo, póki sąd sprawy nie rozstrzygnie.

Nie można dziś jeszcze wiedzieć, jakie sąd w danym wypadku zajmie stanowisko, to jedno wszakże jest jasnem, że opinia publiczna i tym razem stanie w obronie zagrożonych swobód. — Z wyjątkiem dwóch żadne z pism niemieckich, bez względu na barwę, nie pochwala kroku ministra Köllera.

Jest rzeczą niezawodną, iż w parlamencie posypią się interpelacye dotyczące niefortunnego rozporządzenia, a posłowie cesarstwa niemieckiego już niejednokrotnie dali dowód swego przywiązania do konstytucyjnej wolności, przywiązania, którego osłabić nie zdoła strach wobec czerwonego widma przewrotu.

Świadczy to zresztą o politycznej dojrzałości narodu niemieckiego, o poczuciu własnej siły i żywotności, o poszanowaniu godności obywatelskiej. Niemieccy posłowie rozumieją dobrze, że wszelkie prawa wyjątkowe, wszelkie naruszanie wolności politycznej stanowi broń obosieczną. Można nią ranić drugich, można być i samemu zranionym. Wiedzą również, iż najpewniejszą drogą do zabezpieczenia własnych praw jest szanowanie praw innych ludzi!

Jeżeli zaś posłowie niemieckiej narodowości takiemi kierują się zasadami, to o ileż gorliwiej przestrzegać ich powinni Polacy, którzy nigdy ani marzyć nie mogą o zajęciu uprzywilejowanego stanowiska, których jedynym ratunkiem przed uciskiem jest konstytucyjna wolność, zagwarantowana wszystkim poddanym niemieckiego cesarstwa. Możemy być zupełnie pewni, że każde naruszenie tej wolności nieuchronnie da się nam we znaki, że wszystko, co krępuje działalność polityczną ogółu obywateli, przez nadmiernie gorliwych wykonawców władzy z całą surowością do nas stosowanem będzie. — Byłoby też, pomijając stronę etyczną kwestyi, błędem politycznym nie do darowania, gdybyśmy w obecnem położeniu rzeczy biernie się zachowywali, lub stanęli po stronie niezręcznego ministra przeciw zdrowo myślącej większości niemieckiego narodu.

Co do socyalistów, to rozporządzenie ministeryalne bynajmniej ich nie zastrasza. Wiedzą oni, że odniosą z niego jedynie wielką korzyść moralną i wielkie moralne zwycięztwo, tak jak ze wszystkich dotychczas przeciw nim stosowanych wyjątkowych środków. Ta pewność siebie brzmi też w odezwie ogłoszonej przez Zarząd partyi.

W chwili, gdy to piszemy, rozeszła się znów w prasie wieść sensacyjna! Minister Köller otrzymał dymisyę. W jakikolwiek sposób upozorować będą chciały pisma kartelowe ten krok rządu, nie zmieni to faktu, że dymisya dana ministrowi w chwili, gdy tenże tak stanowczem rozporządzeniem działalność swą zamanifestował, świadczy, iż najwyższa władza postępowania jego nie aprobuje. Zbyt energiczny, a niedość zręczny polityk widocznie okazał się niebezpiecznym pomocnikiem w walce toczonej w obronie ładu i porządku.

J. M.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

„Dziennik Kujawski“ o wyborach do inowrocławskiej rady miejskiej:

Wynik walki wyborczej możemy nazwać pomyślnym. Wprawdzie liczba reprezentantów polskich, którzy teraz w radzie miejskiej zasiadać będą, nie odpowiada jeszcze liczbie ludności naszej — skoro bowiem Polaków jest tutaj blizko 12,000 czyli blizko $^{3}/_{5}$ wszystkich mieszkańców miasta, przeto w reprezentacyi powinno być słusznie 14 rajców polskiej narodowości — lecz ze względu na trójklasowy system wyborczy i inne nieprzyjazne dla sprawy naszej okoliczności, z któremi tutaj borykać się przychodzi, możemy być z tego cośmy osiągnęli zadowoleni.

Mamy teraz w radzie 8 naszych przedstawicieli czyli trzecią część całego grona ojców, których zadaniem jest troska o interesa i dobro miasta. Szczęśliwy ten rezultat zawdzięczamy ugodzie, którą się udało zawrzeć z obywatelami mojżeszowego wyznania. Żydzi dali się nakłonić do kompromisu i poszli z nami, co prawda, nie przez szczególniejszą jakąś ku nam sympatyą. Inne względy nakłoniły ich do podania nam ręki. Ale bądź co bądź należy im się i za ten objaw życzliwości uznanie, gdyż pomogli nam do uratowania honoru polskiego imienia, wsparli nas w usiłowaniach podtrzymywania sławy starej stolicy Kujaw — i umożebnili nam zadanie pewnego szachu tutejszym hakatystom, ktorzy ogłosili, że przez przetak wyborczy nie należy przepuścić ani jednego tubylca.

Chełpliwość i dziwna zawziętość przeciwników doznały przykrego zawodu, a w następstwie tego okażą się w dalszym rozwoju stosunków prawdopodobnie i pochwytne, realne skutki odniesionego sukcesu, które nam i miastu wyjdą na dobre.

* * *

Katedra bez słuchaczów. Pod tym tytułem „Nowoje Wr.“ drukuje następujący artykuł:

„Udało nam się ze źródeł urzędowych wydobyć fakt niezwykle pouczający o stanie sprawy nauczania w cesarskim uniwersytecie warszawskim. W r. 1882, na przedstawienie warszawskiego jenerał-gubernatora Albedyńskiego, na wydziale filologicznym cesarskiego uniwersytetu warszawskiego utworzono zwyczajną katedrę literatury polskiej z pensyą dla profesora, w ilości 3000 rs. Rozumie się, utworzenie tej katedry, jako oddziału filologii słowiańskiej, powinno znaleźć wytłomaczenie w tem, że słuchaczami tego fakultetu będą przeważnie Polacy. Katedra ta istnieje w uniwersytecie warszawskim lat 13, a słuchaczów w ciągu tego czasu było 159, tj. po 13 osób rocznie! z nich zaś rosyan 143 i polaków 16. Cyfry te, zdaje się, nie potrzebują komentarza. Katedra istnieje i teraz, i będzie istnieć dalej, i dalej będziemy polonizować swoich studentów ruskich. W ciągu tych lat 13, z bardzo skromnych środków uniwersytetu, wydano na jedną tylko pensyą profesora 39 tysięcy rubli. Innemi słowami: każdy polak, który uczęszczał na te lekcye, kosztuje skarb rosyjski więcej niż $1^{1}/_{2}$ tyś. rs.! Jest to naturalnie po prostu cyfra komiczna, która dowodzi, że katedra zwyczajna jest zupełnie niepotrzebna“.

Jakim sposobem wykłady literatury polskiej, zwłaszcza, jak w danym wypadku, w języku ruskim prowadzone, mają polonizować studentów-rosyan, to już jest tajemnicą autora powyższego artykułu. Gdyby tak iść śladem jego rozumowań, to należałoby znieść fakultet języków wschodnich w Petersburgu...“

(Kraj).

Z naszej strony dodajemy, że na wykłady literatury Polskiej w uniwersytecie Warszawskim wolno uczęszczać jedynie studentom wydziału filologicznego, a przy obecnym systemie rządowym Polacy oczywiście niechętnie poświęcają się studyom filologii. Zmieńcie politykę szkolną, otwórzcie studentom innych wydziałów wstęp na wykłady literatury polskiej, pozwólcie profesorom literatury w polskim przemawiać języku, a największa z sal uniwersyteckich nie pomieści słuchaczów-Polaków.

* * *

„Gazeta Toruńska pisze:

„Akt oskarżenia, wniesiony przez p. Władysława Paruszewskiego z Obudna za pośrednictwem adwokata Fahlego doręczono redaktorowi p. Janowi Brejskiemu w dniu w czorajszym z powodu, że zamieścił on oświadczenie spadkobierców śp. Ignacego Łyskowskiego. Sprawa toczy się „przeciw radzcy zdrowia prof. drowi. Wicherkiewiczowi i wspólnikom“. Tymi wspólnikami są wszyscy zięciowie i wszystkie córki śp. Ignacego Łyskowskiego oraz nasz redaktor czyli razem oskarżonych jest osób dziesięć. Jako świadkowie mają p. Paruszewskiemu służyć znani panowie: „dyrektor owczarstwa“ Niedrowski i niedoszły dziedzic Mileszew p. Starck.

Takie same procesy wytoczył p. Paruszewski spadkobiercom śp. Łyskowskiego i redaktorom kilku innych pism z powodu zamieszczezia w nich owego oświadczenia. Zarobi na tem dobrze Niemiec adwokat i kasa rządowa.“

* * *

„Przyjaciel ludu“, redagowany we Lwowie przez Wysłoucha zamieścił korespondencyę Jana Sila, gospodarza z Grębowa.

W owej korespondencyi skarży się gospodarz Gil, że proboszcz nie chciał go wyspowiadać, odsyłał do dziekana i oświadczył: „Ja ciebie nie wyspowiadam, bo czytasz zakazane pisma“. X. wikary postąpił tak samo i miał przygodnemu korespondentowi „Przyjaciela“ powiedzieć: „Marsz do bóżnicy, do rabina.“

Opowiedziawszy tę rzecz, dodaje Jan Gil następujące uwagi:

„Przeciwko owieczkom swoim zwrócili się pasterze, bo jak który Xiądz idzie za ludem, to go przeganiają prawie co miesiąc z parafii na parafią, tak jak mnie za „sprawiedliwość“ przegania Xiądz wikary do rabina, a Xiądz proboszcz do dziekana.... ale jakbym poszedł do dziekana, to on możeby mnie oddalił do Biskupa. Więc zostaję w domu i proszę Pana Boga i matki Boskiej o przemienienie wszelkiego zła w dobro. A wy, szanowni bracia czytelnicy, rozsądźcie, po czyjej stronie sprawiedliwość i doradźcie, jak mam z tem postąpić?“

„Kuryer Poznański“ wypowiada w tej kwestyi następujące uwagi:

Jakież zamieszanie w pojęciach ludu sprawiła robota Wysłouchów, Stojałowskich, Stapińskich, skoro poważny włościanin, ojciec dorosłych dzieci, starzec stojący nad grobem, popieranie pism zabronionych nazywa „sprawiedliwością“, publicznie krytykuje władzę duchowną za „przeganianie“ wikaryuszów, uważa za słuszne, aby Xiądz szedł za ludem (a Stapiński zapewne przed ludem), dziwi się temu, iż wikaryusz nie postępuje inaczej niż proboszcz, wreszcie w sprawie czysto kościelnej przypuszczenia do spowiedzi żąda jakiegoś plebiscytu, czy powszechnego głosowania, bo oddaje rzecz pod sąd czytelników „Przyjaciela“.

„Kuryer Lwowski“ z „Przyjacielem“ tego nie zrozumieją, na to nie mamy rady, ale postąpienie proboszcza i wikarego w Grębowie było zupełnie prawidłowe i nacechowane prawdziwa miłością bliźniego, miłością, która nie folguje gwoli spokoju niesprawiedliwionym zachciankom, lecz bez obawy czyni dobrze, choć przewiduje, że bliźni w chwilowem zaślepieniu nie uzna dobrodziejstwa zgniewa się i oburzy. (? ?)

* * *

W sprawie nowej emisyi akcyi Banku ziemskiego pisze „Orędownik“ co następuje:

„Czas pokazał, że istotnie społeczeństwo nasze, jak przy pierwszym tak i przy drugim kapitale zakładowym nie może się zdobyć na kilka set tysięcy marek, chociaż ogólne jest przekonanie i to dobrze uzasadnione, że w takiej instytucyi jak Bank ziemski, lokacya kapitałów byłaby i korzystna i pewna. Kapitały przynoszą dziś wogóle nizkie procenta i będą chyba coraz niższe przynosiły, nie wyższe, ale i ten wzgląd przechodzi po naszem społeczeństwie, po jego wyższych warstwach, bez wrażenia.

Ksiądz Piotr.

Szkic

przez **Kazimierza Tetmajera.**

(Rzecz, nagrodzona pierwszą nagrodą na konkursie literackim „Czasu“.)

— Jakiegoś ty herbu, panie Dzięgielewski? — Cykorya?

— Ozorya, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Aha!... No proszę, ktoby myślał... A napiłbyś się panie Dzięgielewski herbu Ozorya wódki?

— Jak wola księdza kanonika. Czemu nie?

— A jakążbyś waćpan dziś preferował? Anyżówkę, czy kminkówkę?

— A no tak po prawdzie, żeby powiedzieć, to kminkówka, ze względu jako jutro jest wtorek, wydaje mi się racyonalniejsza.

— O! jakimże to górnym stylem przemawiasz! Myślałby kto, żeś z nieboszczykiem Słowackim „Króla Ducha“ komponował. Ale cóż to ma do tego, panie Dzięgielewski, organisto?

— Niby co, za pozwoleniem księdza kanonika, ma co do czego mieć?

— Kminkówka do wtorku?

— A no, po prawdzie, żeby powiedzieć, to ona może i nic do niego niema.

— To dlaczegoż wasan powiedziałeś?

— E, kiedy to jegomość to tylko zawsze tak człowieka musztruje.

— Ho! ho! panie Dięgielewski, organisto kłoniecki! Pamiętasz, jakem was maszerować uczył, tu na dziedzińcu przed plebanią, kiedy to się na burzę zabierało? i karabinem machać? Choć, co prawda, tom sam maszerować nigdy nie umiał, bom służył w jeździe i miał pałasz nie karabin. Pamiętasz, panie Dzięgielewski, jaki był ze mnie tęgi oficer w pułku ułanów, za księcia Konstantego? Jakiego miałem konia kasztanka, ho! Pamiętasz waść, panie Dzięgielewski?

— Jakże mogę pamiętać, księże kanoniku dobrodzieju, kiedy wtenczas moja matka jeszcze panną bywszy, w Sabańciszkach na jarmarkach tańcowała?

— A prawda, panie Dzięgielewski, żeś ty cokolwiek młodszy odemnie. Wieleż to wiosen sobie liczysz?

— W metryce mam, jakom się urodził w trzydziestym drugim, z ojca Kaspra Mateusza i Kleofazyi Zaściańskiej, Ozorya Dzięgielewskich, małżonków.

— I od razu miałeś takie żółte wąsy, panie Dzięgielewski, organisto?

— Ou, gdzie zaś! Jakże mogłem wąsy mieć, dopiero z łona matki wyszedłszy?

— A był Rzymianin *dentatus*, co się z zębami urodził, dlaczegożby nie miał być Dzięgielewski „wąsatus“? Czyś ty co gorszego od jakowego poganina, albo co?

— Pewnie, żeśmy od pogan lepsi — jeszcze szlachta...

— A widzisz. A ja się urodziłem w siedmset dziewięćdziesiątym dziewiątym, a teraz mamy ośmset ośmdziesiąty szósty, to ileż mi jeszcze do setki brakuje, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya?

— Ozorya, żeby po prawdzie powiedzieć, do usług księdza kanonika dobrodzieja.

— Niech mu będzie. No, wiele?

— Żebyś ksiądz kanonik miał dziewięćdziesiąt, toby brakowało dziewięć.

— A żebym miał sto, toby nie brakowało nic, nieprawda?

— E, kiedy to jegomość musi zaraz człowieka stropić. Jak się zaś od dziesiątki odejmie...

— No, wiele, prędko?

— Ouu, przecież to tak zaraz....

— A nibyś taki, panie Dzięgielewski, w rachunkach nagły, jak żyd w tańcu. To już ci pomogę. Trzynastka mi brakuje do setki. Wieleż to czyni?

— Właśnie chciałem powiedzieć, na psa urok, ośmdziesiąt siedem.

— Trzynastka, panie Dzięgielewski, trzynastka, feralna cyfra. Ale, jakem szlachcic, jakem Piotr Załański, nie opuszczę Panu Bogu od setki ani dnia, na honor, nie opuszczę. Czym to jeszcze nie krzepki? Zeszłej niedzieli, pamiętasz waść jakem huknął

Bez wrażenia, bo nasze wyższe, zamożniejsze warstwy choćby chciały, to nie mogą wycofać z swych majątków kilku set tysięcy marek — do funduszów obrotowych jakiej bądź instytucyi finansowej.

To nie jest czasem brakiem patryotyzmu, brakiem ducha obywatelskiego, brakiem rozumienia rzeczu publicznej, to jest prosta niemoc finansowa. Wyższe warstwy złożyłyby te krocie na pewno, gdyby je — same posiadały.

Taki zdaje się być istotny stan rzeczy. A z tego wynikałaby dla Banku ziemskiego w konsekwencyi konieczność, żeby odstąpić od wydania nowych akcyi, porzucić wogóle myśl tę i pracować dalej zabiegliwie i sumiennie na podstawie pierwotnego kapitału zakładowego.“

W odniesieniu zaś do projektu podanego w „Dzienniku Poznańskim“, aby za sumę zebraną na fundusz Kościuszkowski i fundusz kardynała Ledóchowskiego zakupić akcye Banku ziemskiego mówi dalej:

„Składki na oba te fundusze wynoszą mniej więcej 15,000 m.; jest to suma, na którąby wogóle taka instytucya jak Bank ziemski, wcale reflektować nie powinna. Jeżeli nie wysokość sumy, to chyba metoda tej rady byłaby polecenia godną. A wtedy metoda mówiłaby: wszystkie składki, jakie społeczeństwo zbiera, lokować w akcyach Banku ziemskiego, a odsetki oddawać na cele, na jakie składki zbierano.

Doszłoby się przy takiej metodzie do większej sumy, ale wtedy wszystko trzebaby oddawać na akcye Banku ziemskiego. Do czegoby to prowadziło! Bank jest bankiem, i mimo jego pewności i stałych jego operacyi może zawsze kiedy dostać się w trudne położenie finansowe, a to rzecz dla funduszów publicznych drażliwa.“



BADANIA NAUKOWE.

Przeciw nauce.

> Jeżeli człowiekowi odbierzesz naukę, to nie zwrócisz mu niewinności dziecinnej, lecz uczynisz z niego dzikie zwierzę i to jedno z najszkodliwszych.
>
> *Arnold Christian Life.*

Od pewnego czasu zaczęto naukę czynić odpowiedzialną za wszystkie klęski trapiące ludzkość. Rozpowszechnianie wiedzy według niektórych obrońców ciemnoty i zastoju, rodzi bezbożność, wywołuje zbrodnicze wybryki anarchistów, zmowy robotników, ba! nawet krachy finansowe i ekonomiczne. „Cherchez la science“ stało się hasłem pisarzy i publicystów pewnego obozu, którzy w każdej klęsce widzą szkodliwy wpływ wiedzy. Ta niechęć ku nauce tak bardzo się rozwielmożniła w ostatnich czasach, że nawet pisarze uczciwi i trzeźwo na rzeczy patrzący tracą równowagę umysłową i dają się unieść ogólnemu prądowi. Ztąd to pochodzą owe śmieszne ankiety: czy nauka wpływa na moralność, czy też nie. Gdyby rządy i ludy usłuchały głosu tych nowoczesnych Omarów toby w Europie pozamykano wszystkie uniwersytety, księgozbiory spalono i ludzi nauki skazano na zagładę. Na szczęście jednak kierownicy naw państwowych nie podzielają obaw obrońców porządku społecznego, u sfer najwyższych rozlegają się głosy potężne, wołające o światło dla najniższych nawet warstw społecznych.

Trudno naprawdę zrozumieć, zkąd powstała ta ślepa nienawiść ku nauce, która tyle usług oddała i oddaje ludzkości! Nie mówiąc już o tem, że nauce zawdzięczamy całą naszą teraźniejszą cywilizacyę, że dzięki zdobyczom nauki, człowiek ze stanu dzikości wzniósł się na te wyżyny, na których usiłuje odgadywać największe tajemnice i prawdy; musimy jeszcze zwrócić uwagę na to, że i nasza teraźniejsza etyka jest w znacznej części wytworem wiedzy a etyka ta, pomimo przeciwnego twierdzenia zwolenników dobrych, starych czasów, o całe niebo stoi wyżej od etyki naszych przodków. Wiedza jest potęgą: znajomość praw elektryczności oszczędza nam czasu, umiejętność pisania oszczędza nam mowy i lokomocyi, znajomość ekonomii domowej oszczędza zbytecznych wydatków, znajomość praw sanitarnych daje nam zdrowie i życie, znajomość praw myślenia oszczędza nam przeciążenie umysłu. Do tych słów Kingsleya musimy jeszcze dodać zdanie Herberta Spencera: „Dla samoobrony naszej, albo dla podtrzymywania życia i zdrowia niezbędną jest wiedza. Ona wskazuje nam sposoby zarabiania na życie, ona daje nam najlepsze rady odnośnie do wychowania naszego potomstwa. Bez wiedzy nie jesteśmy w stanie wytłómaczyć sobie tych warunków życia narodowego, zarówno przeszłego, jak i teraźniejszego, bez których żaden obywatel nie jest w stanie uregulować swojego postępowania. Najdoskonalsze wytwarzanie w dziedzinie sztuki nie może się obejść też bez wiedzy. Badania umysłowe, moralne, religijne — muszą być oparte na badaniach naukowych“.

Korzystając z najnowszej pracy znakomitego przerodnika angielskiego sir Johna Lubbocka pod tytułem: „The use of Life“, przytoczę niektóre ustępy, tyczące się naszego przedmiotu.

Od najdawniejszych czasów istniało pewne uprzedzenie ku nauce, lubo miało ono zupełnie inne źródło, niż obecnie. Bardzo często spotykamy się ze zdaniem, że nauka nie wszystkim jest potrzebną, a najmniej kobietom. Starzy niemcy mawiali, że garderoba jest najlepszą biblioteką dla kobiet, a francuskie przysłowie powiada, że dziewczę należy trzymać albo pomiędzy czterema ewangelistami, albo też pomiędzy czterema ścianami. Niezbyt dawno jeszcze było powszechne mniemanie, że nauka jest zarówno zbyteczną dla biedaków, jak i arystokratów, powinna ona być wyłącznym udziałem księży i mnichów.

Dr. Johnson, jeden z najświatlejszych umysłów swojego czasu, jest najmocniej przekonanym, że gdyby wszyscy uczyli się czytać i pisać, toby zabrakło rąk do pracy. Z biegiem czasu pogląd ten, pod wpływem wymagań rzeczywistości, uległ pewnej zmianie a mianowicie zaczęto dzieci uczyć czytać, pisać i rachować, gdyż znajomości te okazały się niezbędnemi w życiu praktycznem; ostrzegano jednak, aby tych granic nie przekraczać, gdyż nadmiar wiedzy jest bezwzględnie szkodliwym dla zajęć praktycznych i zawodowych; im człowiek ma mniej idej w głowie, z tem większą łatwością będzie zarabiał grube pieniądze. Dziś pogląd ten uległ rdzennej zmianie, kształcimy naszych rzemieślników nie dla tego, aby z nich uczynić dobrych robotników, lecz aby ich wykształcić na dobrych ludzi.

Pomimo tej ogólnej nieufności ku nauce, najznakomitsi przedstawiciele rodu ludzkiego byli absolutnymi zwolennikami wie-

---

z ambony ku panu Karaskowsiemu Bolesławowi z Wólki, co był zasnął w ławce, tak się wzdrygnął, aż mu okulary z nosa spadły. Oho! jeszcze się nie dam. Napiłeś się, panie Dzięgielewski, wódki?

— Jakże, kiedy ksiądz kanonik tylko obiecać raczył?

— No, to wyjmijże karafeczkę z kredensu. A że dziś jest poniedziałek, a jutro wtorek, dwie. Nie tę, tamtą, tak. Na tę intencyę łykniesz sobie naprzód anyżki, potem kminkówki.

— Za łaską księdza kanonika.

— Łyknąłeś?

— Niby tak.

— Teraz drugą.

— Niby już.

— Zakąśże teraz pierniczkiem. Dobry?

— Hm! hm! Delicye!

— No to idźże teraz, panie Dzięgielewski, do domu, a kłaniaj się pięknie pani Dzięgielewskiej i pannie Anastazyi Paprykowskiej, jej siostrze ciotecznej, a ja sobie tymczasem pacierze poranne odmówię. Bóg z tobą, panie Dzięgielewski, herbu Cykorya.

— Całuję rączki księdza kanonika dobrodzieja. Ozorya!

I pan Dzięgielewski, obtarłszy rękawem płowe, siwiejące, długie wąsy, pocałował księdza kanonika niżej łokcia i wyszedł.

Wówczas staruszek przeżegnał się, złożył ręce na piersiach i począł chodzić po pokoju jednostajnym, wolnym krokiem, szepcąc półgłosem modlitwy, zaś stary gończy Zagraj, śpiący dotychczas pod kanapą, otwarł najprzód jedno oko, potem drugie, wstał, przeciągnął się, ziewnął, i jak to już od lat dawnych zwykł był czynić codziennie, pușcił się krok w krok za swoim panem. Od czasu do czasu staruszek ręką muchy uprzykrzone odganiał, od czasu do czasu kłapał na nie zębami stary Zagraj i tak chodzili obaj aż do śniadania.

W trakcie modlitwy ksiądz Piotr spoglądał niekiedy na ścianę, gdzie wisiały pięknie wypolerowane dubeltówki i tkwiły wielkie, rosochate poroża jeleni, przyglądał się chwilę kwitnącym w doniczkach na oknie hyacyntom i azaleom, albo wybujałym pod oknem malwom i słonecznikom, niekiedy przewiódł mimochodem oczyma po zrównanych w rząd cybuchach i połyskujących piankowych fajkach, lub też nie przerywając szeptu pacierza, przed szafą z książkami się zatrzymał, tę, ową poprawił, i szedł powoli dalej, pies zaś za nim. Na świat też nieraz spojrzał, bo na dziedzińcu uwijali się parobcy w pąsowych kabatach, pan Walenty Mościk, ekonom, krzyczał i komenderował, młode psy rozganiały kurczęta, stary obłaskawiony żóraw, Marcin, żróbki płoszył i indorom się sprzeciwiał. Gwar był i ruch. Dziewki w żółtych i pstrokatych chustkach na głowie, przechodziły, nucąc tęsknie i rozwiodle, pawie roztaczały świetne ogony i puszyły się, wlokąc skrzydła po ziemi, gołębie chmurą zlatywały z nad dachów i wznosiły się nad nie, zataczając wielkie koła. Na to wszystko padało poranne słońce, bardzo jasne i promieniste, kładło plamy złotawe na ziemi i słało poświetl mieniącą na lipach i brzozach.

Ksiądz Piotr, nie przestając się modlić, patrzył w okno siwy i cichy, z dłoniami zetkniętemi przy ustach, a gdy już ostatnie słowa pacierza wyszeptał, jeszcze znaku krzyża nie kładł, tylko stał przy oknie długo i patrzył. I potem znak krzyża na własnych naprzód ramionach uczyniwszy, kreślił go w powietrzu, błogosławiąc z swego pokoju kłonickim łanom, lasom i wodom rybnym i ludziom w polu robiącym i trzodom co się po łąkach pasły.

Tak było często.

Wypiwszy kawę, ksiądz Piotr zapalał piękną fajkę piankową na długim, wiśniowym cybuchu, z dużym, kosztownym bursztynem, dar nieboszczyka kolatora pana marszałka, i pociągnąwszy kilkanaście razy, pochylał się w tył fotelu i zaczynał drzemać, przyczem zwykle coś mu się śnić musiało, pomrukiwał bowiem: ho! ho! i poruszał wskazującym palcem prawej ręki, co czynił zawsze, ile razy opowiadał z zajęciem, lub dawne czasy wspominał.

Miało mu się też co marzyć! Dzieciństwo naprawdę „sielskie anielskie“ w Załanach; służba pod księciem Konstantym, rewolucya listopadowa, kilka lat emigracyi, długa wędrówka, wreszcie kilkadziesiąt lat służby bożej, twardej i pełnionej po żołniersku, bez folgi, po rozkazie...

dzy. „Ze wszystkich skarbów — powiada Histopades — wiedza jest najdroższą, gdyż jej nikt ci nie ukradnie, nikomu nie jesteś w stanie jej darować, ani też zużyć“. „Wykształcenie — powiada Platon — jest najcudowniejszą rzeczą, jaką człowiek posiadać może“. Montaigne twierdzi, że ciemnota jest matką złego. Nauka — powiada Fuller — jest najhojniejszą jałmużną, jaką człowiek swojemu bliźniemu dać może. Pouvoir sans savoir est fort dangereux — powiada pewien moralista francuzki. Petrarka zapewnia nas, że w życiu swojem o nic tak nie dbał, jak o nabycie wiedzy. Shakespeare, kładąc w usta lorda Saya słowa:

Ignorance is the curse of God
Knowledge the wing wherewith we fly to heaven.
(Ciemnota jest przekleństwem niebios
Wiedza skrzydłami, za pomocą których wznosimy się ku Bogu)

wyraża prawdopodobnie swój własny pogląd. Salomon w swoich przypowieściach temi słowy wychwala naukę:

Błogosławiony mąż, który znalazł mądrość i który obfituje w roztropność. Lepsze jest nabycie jej, niźli kupno srebra i złota, droższą jest ona niż rubiny. Długie życie na jej prawicy i na lewicy są bogactwo i sława. Drogi jej są przepiękne i na nich panuje wieczny spokój.

„Wiedza — powiada lord Beaconsfield — jest ową mistyczną drabiną we śnie patryarchy Jakóba. Podstawa jej spoczywa na ziemi, szczyt zaś gubi się w niezbadanych przestrzeniach niebios; wielcy pisarze, którzy w ciągu długich wieków podtrzymywali ciągłość wiedzy, filozofii i poezyi, są owemi aniołami, wstępującymi i zstępującymi po świętej drabinie, którzy utrzymują niejako łączność pomiędzy ziemią i niebem“.

Twierdzenie, jakoby nauka nie miała żadnego wpływu na moralność, upada wobec prawdziwych danych statystycznych.

Już Wiktor Hugo powiedział, że kto otwiera szkołę, ten zamyka więzienie. Słowa te znajdują potwierdzenie w rezultatach, otrzymanych w Anglii. W r. 1870 przeszedł w parlamencie „the Education-Act“, wprowadzający przymusowe nauczanie. Do tego czasu liczba dzieci, uczęszczających do szkół elementarnych, wynosiła 1,400,000, obecnie liczba ta wynosi około 5,000,000. Przyjrzyjmy się skutkom tej reformy. Do r. 1887 liczba więźniów stale wzrastała i wynosiła przeciętnie około 20,800 rocznie. Odtąd począwszy, zaczęła ona stale się zmniejszać i wynosi obecnie, według danych urzędowych, tylko 13,000, pomimo, że ludność Wielkiej Brytanii znacznie się powiększyła. Gdyby liczba przestępców wzrastała proporcyonalnie do wzrostu ludności, to musiałaby ona wynosić 28,000, t. j. musiałaby być przeszło dwa razy większą, niż jest w rzeczywistości. Wydatek na policyę i więzienia wzrósłby wtedy do wysokości 8,000,000 funtów sztrl., gdy w rzeczywistości wynosi tylko 4,000,000 funtów. Jeszcze zbawienniej objawia się wpływ przymusowego wychowania na liczbę małoletnich przestępców. W r. 1856 liczba ta wynosiła 14,000, w r. 1866—10,000, w r. 1876—7,000, w r. 1881—6,000, obecnie zaś wynosi tylko 5,100. Zwracając się teraz do statystyki podatku na biednych, znajdujemy rezultaty niezmiernie ciekawe. W r. 1870 stosunek biednych, korzystających ze wsparcia publicznego i ogółu ludności wynosił 0,047, obecnie zaś wynosi zaledwie 0,022 i dodać musimy, że w większych miastach stosunek ten jeszcze jest mniejszym. Roczny podatek na biednych wynosi obecnie 8,000,000 funtów szt., gdyby zaś utrzymał się dawniejszy stosunek, to wydatek ten stanowiłby sumę aż 16,000,000 f. szt. Tak więc w ciągu dwudziestu kilku lat Anglia zaoszczędziła na policyi 4,000,000 f. szt., na podatku zaś dla biednych 8,000,000. Co więcej, statystyka ciężkich przestępstw wykazuje znaczne umoralnienie. Tak np. czytamy że w r. 1864 liczba skazanych na ciężkie roboty wynosiła 2,800, gdy obecnie wynosi zaledwie 729, pomimo, że ludność Anglii znacznie wzrosła. Dla wskazania ścisłego związku, zachodzącego pomiędzy zbrodnią i ciemnotą, przytoczę, że z ogólnej liczby 157,000 przestępców, skazanych na więzienie, tylko 5,000 umiało czytać i pisać, a tylko 250 mogło rościć sobie pretensyę do miana ludzi wykształconych (cyfry odnoszące się do przestępców, zaczerpnięte są z „Rep. of the Dir. of Convict Prisons“; 1893). Wiem doskonale, że to moralne uzdrowienie Anglii nie jest wyłącznym wynikiem wpływu szkoły, gdyż i inne jeszcze czynniki wpłynęły na tę poprawę; zastanawiając się jednak bliżej nad tą kwestyą widzimy, że wpływ szkoły musi być przeważającym. Szkoła bowiem nietylko umoralnia dziatwę, udzielając jej nauki, przyzwyczajając do porządku i czystości, rozwijając w niej poczucie obowiązku, lecz jeszcze więcej przyczynia się do jej poprawy, usuwając od niej zły wpływ ulicy i zaraźliwy przykład otoczenia. Jeżeli jednak w innych krajach wpływ szkoły nie był tak zbawiennym, jak w Anglii, to przyczyny tego zjawiska szukać należy gdzieindziej. Należy bowiem zaakcentować, że sama nauka czytania i pisania, reguł arytmetyki i gramatyki, same przez się nie są w stanie sprowadzić tych błogich skutków, których od szkoły się spodziewamy. Zadanie bowiem wychowawcy nie polega na tem, aby nauczyć dzieci różnych prawideł, lecz powinien on dążyć do tego, aby dopomódz rozwijającej się inteligencyi, dodać jej bodźca w chwilach trudnych, natchnąć duszę nadzieją i uśpione lub w zarodku będące zdolności doprowadzić do pełnego rozwoju. Wychowanie nie powinno mieć na celu dostarczania prawników, doktorów, inżynierów, nauczycieli lub artystów, lecz powinno ono dążyć do rozwijania człowieka. To wychowanie — powiada Milton — nazywam szlachetnem i zupełnem, które obdarza człowieka zdolnością wykonywania szlachetnie, uczciwie, dobrotliwie, sprawiedliwie i ze znajomością rzeczy wszystkich obowiązków obywatelskich, zarówno prywatnych, jak i publicznych, zarówno w pokoju, jak i na wojnie. Już król Salomon w swoich przypowieściach wymownemi słowy kreśli nam obraz prawdziwego wychowania:

Dla poznania mądrości i wykształcenia,
Dla zrozumienia słów rozumu,
Dla przejęcia się przykazaniami wiedzy,
Sądu i słuszności,
Dla nadania przenikliwości prostaczkowi,
Młodzieńcowi wiedzy i przezorności.

Francuzkie przysłowie powiada: „Si jeunesse savait, si vieillesse pouvait“. Otóż dobre wychowanie urzeczywistni oba te warunki, ono bowiem obdarza nas wiedzą w młodości i siłą w starości.

Łatwo pojąć że urzeczywistnienie takiego ideału wychowania należy do krainy

---

Księdzem nie został ten niegdyś świetny rotmistrz ułański z powołania; przyznawał się do tego otwarcie. — Ja — mówił nieraz — urodziłem się, kochanku, na księdza, jak moja dziewka Wikta, co korzec ziemniaków na plecy bierze, na baletnicę. Byłem młody, przystojny, ho! ho! nie biedny, a do tego żywy, lekkomyślny, pusty, ot szlachcic polski i do tego kawalerzysta. Alem poznał, kochanku, w czemeśmy zawinili. Ja, kiedy mi mój luzak, Sobek, chłopak z Załan, szabli niedopolerował, albo butów na czas nie przyniósł, buch go w pysk! Mój ojciec, mój dziad, mój pradziad, wszyscy Załańscy za takie same i podobne rzeczy swoich Sobków buch w pysk! Dla tego mi mój chłopak przed pierwszą bitwą uciekł, dla tego żaden chłop z Załan do Kościuszki nie poszedł, dla tego w czterdziestym szóstym mego brata stryjecznego jego własny lokaj za nogę z konia ściągnął, a potem go chłopi tak zsiekli, że go poznać nie można było. Ja poszedłem robić ekspiacyę za siebie i za innych Załańskich, poszedłem kochanku służyć tym, względem których czułem się winny, a przez którą to winę czułem się winny wobec całej ojczyzny. Bo gdybyśmy byli wszyscy w pole wyszli, Jezus Marya! ho! ho! A czy ty myślisz kochanku, że mnie było łatwo rzucić wszystko, cały świat, który mi się śmiał, sutannę oblec, na wieś iść, dzieci chłopskie chrzcić i szczerbate baby spowiadać? Nieraz myślałem, że nie wytrzymam, kochanku. Jeszcze, jak węgierska wojna wybuchła, o małom sutanny na kołku nie zawiesił i za Karpaty nie ruszył. Ale powiedziałem sobie; zameldowałeś się Bogu do służby, służ! A służba Boża twarda rzecz i On nie żartuje. Kiedy dobry, to dobry, ale jak się rozsierdzi, wszyscy w kąt, nawet Michał Archanioł, choć to wielki wojownik i djabłu skórę wyprał, stronami tylko szablą pobrzękuje, a przed Panem Bogiem tak ją cicho w garści niesie, jakby po cesarskich pokojach stąpał. A cóż dopiero marny człowiek, choćby nawet kanonik. Ho! ho! Ale potem jużbym za skarby świata mojej sutanny nie zwlókł i mojej parafii nie opuścił. Com z początku, kochanku, jako pokutę, jako ekspiacyę podjął, żebym ja pan z panów i oficer kawaleryjski między proste chłopstwo schodził, życie mu moje, moje dni i noce w ofierze niósł, tom się w tem potem rozmiłował. Myślałem sobie: co ja tu jednę duszę w tych Kłonicach polską zrobię, tośmy bliżsi zmartwychwstania. A potem rozmiłowałem się w rzeczach boskich i zacząłem te dusze nietylko polskiemi, ale i boskiemi robić. I myślałem sobie znowu: co ja tu jednę duszę kłonicką Bogu przysposobię, to On tam, sędzia sprawiedliwy i miłosierny Załańskim choć po roku jednym pokuty czyścowej odpuści. A potem przez miłość Boga zacząłem i ludzkość szeroką miłować i tę miłość w kłonickie dusze szczepić... I powiedz mi, możeż być co piękniejszego na ziemi, jak dusze Bogu, ojczyźnie i ludzkości skarbić? A te kłonickie dusze, one są gliniaste i kamieniste, ale w nich i czarnoziem jest, one nie są złe, one są nawet często dobre. Tylko one są bardzo trudne i trzeba je, kochanku, bardzo kochać i bardzo im pobłażać i ludzkość im świadczyć. Żebym ja był mojego Sobka mniej bił w pysk, a więcej do niego mówił, nie byłby mi on przed pierwszą batalią powiedział: „a mnie wciornaści do tego“ i uciekł, gdzie pieprz rośnie. I widzisz, mogę śmiało, kochanku, powiedzieć, że do czegom się zameldował, tom spełnił; byłem, śmiało mogę powiedzieć, dobrym księdzem, dobrym duszpasterzem. A żebyś mi to prorokował był tak lat temu sześćdziesiąt, kiedym ja dla panny Jadwigi Karśnickiej siwą klacz turecką ujeżdżał, a potem ją na tej samej klaczy wykradł, Panie odpuść, dla mego przyjaciela, Hilarka Roszczewskiego, że mnie w sutannie do trumny będą kładli, kiedy ja myślałem w jeneralskich szlifach na dolinę Józefata iść... ho! ho! Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi... Ho! ho! Niema tam gdzie Pana Dzięgielewskiego?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



marzeń; ani programatami, ani systematami nie daje się ono przeprowadzić, do tego bowiem potrzebni są idealni nauczyciele, których żaden kraj obecnie nie posiada. Pozostaje nam tylko dążenie do tego upragnionego celu, do tej wymarzonej szkoły. Dotychczas pomimo usiłowań mężów stanu i uczonych pedagogów — celu nie osięgnięto. Proponowane systematy szkolne znacznie odskakują od ideału, najlepiej jednak, według mnie, zadanie praktycznej szkoły scharakteryzował prof. Huxley. Znakomity ten uczony powiada, że należy dzieciom dać takie wychowanie, aby przeciętnych zdolności chłopiec piętnasto lub szesnastoletni był w stanie poprawnie i z łatwością pisać we własnym języku, dokładnie zrozumieć pisarzy ojczystych i ocenić piękność ich utworów, mieć jasne pojęcie o dziejach własnego kraju i ogólnych prawach rządzących życiem społeczeństw, znać przytem główne podstawowe zasady nauk fizycznych i psychologicznych jako też arytmetyki i geometryi. Zasady logiki powinny mu być udzielane na przykładach a nie drogą teoretyczną; nabycie zaś elementów muzyki i rysunków powinny dla niego stanowić raczej przyjemność, niż pracę. Możemy śmiało twierdzić, że gdy taki system wychowania zostanie uczciwie przeprowadzonym, wtedy będziemy na najlepszej drodze ku moralnemu uzdrowieniu ludzkości.

dr. Karol Hertz.



LITERATURA I SZTUKA.

Nad jeziorem.

Srebrem przetkana, skroś się migocąca
Na senną ziemię cicha noc się kłoni, —
Ćmiąc raz po razie jasną twarz miesiąca
Chmur białych stado mknie po świetlnej toni.

I cisza wszędy, jak zajrzeć dokoła,
Milczy snem zdjęte jeziora przestworze,
Śpią sine wzgórza, w mgły spowiwszy czoła,
Drzemie pobrzeże odbite w jeziorze.

Czasem nad tonią zwieszone tumany
Milczące z sobą korowody wiodą,
Czasem się dreszczem wstrzęsie szlak świetlany —
I znowu cisza ponad senną wodą;

Czasem się cicho ze skrzącej posowy
Zerwie skra jedna i szybko w dół stoczy,
Czasem się łyśnie ponad wzgórza głowy —
I znowu spokój śród bladych przezroczy;

Czasem się brzeżne trzciny zakołyszą,
Czasem coś nagle z oddali zawoła,
Czasem się dreszcze jakieś pomkną ciszą —
I znowu głuche milczenie dokoła. — — —

Tam coś się zbliża: — Skroś sinej poświaty
Ku snem zmorzonej podąża głębinie
Postać kobieca. — W księżyca jej szaty
Lśnią a łyskają. — W świetle płynie, płynie... —

Cicha stanęła: — Tuż nad skrajem toni
Jak blade widmo pod księżyc się bieli
I zwolna, zwolna ku głębiom się kłoni,
Niżej i niżej nurzy się w topieli.

Wstrząsły się wody: — Po gładkiej przestrzeni
Pędem się fala coraz toczy nowa,
W drgającej toni coś biało się mieni,
To silniej błyśnie, to znowu się chowa.

Znikło: — Już cichną, już gładzą się fale!
Ostatnie koło gdzieś w dali przepadło,
Znów szlak świetlany drży na wód krysztale,
Znów jako przedtem gładkie wód zwierciadło.

I cisza wszędy, jak zajrzeć dokoła,
Milczy snem zdjęte jeziora przestworze,
Śpią sine wzgórza, w mgły spowiwszy czoła,
Drzemie pobrzeże odbite w jeziorze.

Czasem nad wodą zwieszone tumany
Milczące z sobą korowody wiodą,
Czasem się dreszczem wstrzęsie szlak świetlany,
I znowu cisza ponad senną wodą;

Czasem się cicho ze skrzącej posowy
Zerwie skra jedna i szybko w dół stoczy,
Czasem coś łyśnie ponad wzgórza głowy,
I znowu spokój wśród świetlnych przezroczy,

Czasem się brzeżne trzciny zakołyszą,
Czasem coś nagle z oddali zawoła,
Czasem się dreszcze jakieś pomkną ciszą
I znowu głuche milczenie dokoła.

1.4. 95. *Zygmun Bytkowski.*



Aleksander Dumas.

Aleksander Dumas był synem sławnego romansopisarza tegoż imienia, którego powieści należały do najpoczytniejszych utworów współczesnych, a dramaty dziś już zapomniane, niegdyś powodzeniem cieszyły się na scenach francuzkich.

Zmarły Aleksander Dumas urodził się w Paryżu 1824. Pierwsze nauki pobierał w Collège Bourbon, gdzie się odznaczał zdolnościami. — Wychowaniem jego początkowem zajmowała się babka, generałowa Dumas, gdyż ojciec, wówczas sekretarz ks. Orleańskiego, nie mógł starczyć na jego utrzymanie.

Po ukończeniu nauk rzucił się w wir światowego życia, w którem towarzyszem i przewodnikiem był mu ojciec. — Dla obu, tj. ojca i syna skutki były jednakie — zabrnęli w długi. Dumas ojciec, jak zwykle w podobnych okolicznościach schronił się do Belgii, by uniknąć więzienia i pisaniem romansów zdobyć środki do pozbycia się kłopotów. Syn wstąpił w jego ślady i wówczas napisał swą „Damę kameliową“ — która mu rozgłos zjednała. Kilka następnych powieści pozwoliło mu nietylko uregulować interesa lecz zdobyć niezależność materyalną. W r. 1852 „Damę Kameliową“ wystawiono na scenie. Następnie przerabiał na scenę inne swe powieści wreszcie od roku 1855 zaczął pisać samodzielne dramaty i komedye. — Największy rozgłos zdobyły „Le Fils naturel“, „Le père prodique“ — i „Le demi monde“.

Po wojnie 1870 r. usunął się Dumas na jakiś czas do zacisza prywatnego życia, lecz potem powrócił znów do pracy literackiej. Ze sztuk późniejszych więcej znane u nas są „Księża Jerzowa“, Sprawa Clemenceau“, „Dyoniza“ i „Francillon“.

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

I.

Od czasu jak pan Kajetan Borajski wybudował obok pracowni drugą kamieniczkę i powtórnie się ożenił, zaszła w jego życiu i usposobieniu wielka odmiana.

Dawniej — bywało — walił sam od świtania do zmierzchu przez cały tydzień młotem w kowadło, aż pot lał się z czoła i rzeźbił jaśniejsze rowki na skroniach pyłem węglanym osmolonych: po pracy przesiadywał wieczorami w domu, huśtając na kolanach małą Lolę, żartując ze świętej pamięci pierwszą żoną, lub obliczając dzienny zarobek, którego część zapobiegliwa matka Karolina zanosiła nazajutrz podczas kupna do kasy oszczędności. Miał wówczas czarne ręce, przedni apetyt, wesołość niezwykłą w sercu, niezmordowaną chęć do pracy — natomiast nie miał dwóch domów murowanych, młodej żony, dorastającej córki, sześciu pomocników w warsztacie i prawej ręki w osobie Franciszka Smolarza, który prowadzi mu dziś pracownię lepiej, niżby on to sam potrafił, gdyby mu się oczywiście prowadzić ją chciało.

Czasy się zmieniają.

Jeszcze przed śmiercią ś. p. Karoliny wpadł kołodziej Bezroba, sąsiad i przyjaciel Borajskiego, na pomysł wyrabiania nowych wózków węgierskich, lekkich i zgrabnych. Wózki bardzo się podobały w okolicy na jarmarkach — a nietylko w okolicy, wszędzie, w całym świecie. Nie minęło i pięć lat, a już pracy wydołać nie można było. Zdarzyło się nawet, że do tygodnia dwa i trzy zamówienia przychodziły pocztą i to ze stron o dwadzieścia mil od Kołczanowa oddalonych. A że dobre okucie przy wózku prawie tyle znaczy co pomysł lub robota kołodziejska, więc też pani Karolina coraz częściej musiała zabiegać do kasy oszczędności, aż wreszcie umęczona, odeszła, aby wypocząć.

W jakiś czas potem, gdy i pomysłowy Bezroba pożegnał ten świat, wskutek czego wózków do okuwania brakło, postarał się Borajski o robotę przy budowie kolei. Tu dopiero poszczęściło mu się naprawdę. W niespełna dwa lata wznosił już na swoim ogrodzie przy ulicy Głębokiej, w niepośledniem mieście Kołczanowie, drugi domek murowany z ganeczkiem, oszklonym na froncie i kamiennemi schodkami po obu bokach.

Gdy się to wszystko za wolą Bożą dzięki dobrym chęciom, głowie na karku i niespożytej sile fizycznej stało, zauważył Kajetan Borajski, że po nad kowalstwo i ślusarstwo są inne czynności na świecie, do których ludzie tego co on rodzaju bywają niekiedy powoływani. Ot, naprzykład sąsiad Szołomiejski, choć nie ma takiego, jak on mienia, już od lat wielu zasiada w radzie miejskiej i tak tam nieraz mądrze rozprawia, że na drugi dzień mówią sąsiedzi i znajomi o nim u Bronarza przy kufelku, kiwając głowami.

A o nim kto kiedy w podobny sposób wspomina?

Raniecki należy tam także do rady miejskiej, Szeląg także, zacny Bezroba należał też... no, i wielu innych,

W ogóle znudziła się już Borajskiemu piękna, rozszerzona i udoskonalona ostatnimi czasy pracownia. Zapragnął innego życia, a pragnienie to zaspokoił na razie w ten sposób, że powierzywszy kierownictwo warsztatu najzdolniejszemu z czeladników, choć młodemu jeszcze wiekiem Smolarzowi, mało się już nim począł zajmować, natomiast co wieczora ubrany w nową popielatą kapotę z czarnemi pętlicami, zgrabne buty i czapkę barankową, kroczył wesoło do piwiarni Bronarza na kilka kufli pilzneńskiego i na pogawędkę z przyjacioły, która się nieraz przeciągała aż do ukazania się kokoszki na niebie.

Te ciasne wprawdzie, lecz liczne pokoiki u Bronarza, gromadziły w sobie wieczorami cały świat inteligencyi mieszczańskiej miasta Kołczanowa. Zaglądał tu także od czasu do czasu burmistrz Babielecki, a nawet oficerowie i urzędnicy. Dla tych panów miał sprytny ormianin osobne dwa po-

Mimo znakomitej formy scenicznej jego utworów, w temperamencie jego przeważał nie artystyczny lecz publicystyczny żywioł. Każda ze sztuk jego miała jako podkład jakąś tezę społeczną, której dowodził w scenach pełnych życia, realistycznych, zręcznie ułożonych, skrzących dowcipem i talentem lecz przeplecionych dość wyraźnie rozumowaniem. Rozumowanie to, często paradoksalne odnosiło się przeważnie do komplikacyi stosunku między kobietą a mężczyzną. Kwestya rehabilitacyi kobiety upadłej jak w „Damie kameliowej" i „Dyonizie", niewiary małżeńskiej jak w „Francillon", „Sprawie Clémenceau", „Księżnie Jerzowej", praw dzieci naturalnych jak w „Synu naturalnym" — zajmowały przeważnie jego umysł i były treścią jego utworów.

Tematy te, jak wiadomo, niezmiernie rozwielmożniły się w literaturze francuskiej, za co wreszcie odpowiedzialność nie na samego spada Dumasa. Na dnie paradoksów jego zresztą tu i owdzie kryje się zdrowe ziarno prawdy, które pozostanie jego w literaturze zasługą. Bezwzględne potępienie wiarołomstwa mężatki, dochodzące aż do znanego a krańcowego wykrzykniku „Tue la!" nie pozostało bez wpływu na opinią publiczną, wpływu o tyle szkodliwego, że wywołało liczne a gorszące uniewinnianie morderców kobiet przez sądy paryzkie. — Z drugiej strony surowość dla mężatek obok wyrozumiałości dla kobiet wolnych, przebaczenia dla ich jednorazowego błędu okupionego pokutą, lub zasługą, — życiem cnotliwem i bez zarzutu, choć niekiedy dochodziło do krańcowości miało pewnego rodzaju słuszną etyczną podstawę. —

Utwory Dumasa, choć do ostatniej chwili na scenie, trzymały się siłą jego oryginalnego talentu, należą do rodzaju, który się już przeżył i schodzi z pola. — Jeżeli „Dama Kameliowa" długo jeszcze figurować będzie w repertuarach teatrów, to głównie dzięki roli głównej, dającej znakomite pole popisu artystkom utalentowanym. —

W 1874 roku Dumas przyjęty został do grona „nieśmiertelnych" Akademii francuzkiej.

Pod koniec życia dnia 27. czerwca ożenił się z młodziutką, bo zaledwie 20-letnią panną Regnier de la Bruyère. —

Umysł Duma-a nie starzał się do ostatniej chwili. — Poglądy swoje radykalne łączył z miłością bliźniego, litością dla uciśnionych, młodzieńczą wiarą w postęp i optymizmem w odniesieniu do przyszłości. Oto co pisze w liście otwartym ogłoszonym na rok przed śmiercią:

„To zbrojenie się wszystkich ludów — pisze w nim — te groźby, które ich naczelnicy wzajemnie sobie rzucają, to wznowienie prześladowań niektórych narodów, to wrogie usposobienie wśród obywateli jednego kraju, wreszcie te dziecinne bajania na katedrach uniwersyteckich, to są wszystko oznaki złego pozoru, ale nie złego znaczenia. To są ostatnie drgania tego, co zniknąć musi. Chorobą jest w tym wypadku tylko energiczne wytężenie organizmu, aby się uwolnić od przyczyn konania. Ci, co zyski ciągną z błędów przeszłości i długo jeszcze a nawet zawsze spodziewają się te zyski ciągnąć, jednoczą się w zamiarze przeszkodzenia owym zmianom. Ztąd te zbrojenia się, te groźby, te prześladowania, ale skoro z uwagą spojrzymy w około, spostrzeżemy, że to wszystko pozory. Wszystko to jest olbrzymie a przecież marne. We wszystkiem tem nie ma już duszy, która dokąd indziej uleciała. Wszystkie te miljony uzbrojonych, które dzień w dzień ćwiczą się do powszechnej, niszczącej wojny, weale nie czują nienawiści ku tym, z którymi mają walczyć, a żaden z ich przewódzców nie śmie wypowiedzieć wojny. Co się tyczy zaś skarg, które od dołu się podnoszą, to poczynają im wtórować od góry okrzyki, uznające ich słuszność i wyrażające wielkie a szczere współczucie. Wzajemne porozumienie się niewątpliwie dokona się w pewnej chwili i bliższem jest niż się spodziewamy. Nie wiem, czy to ztąd pochodzi, że wkrótce opuszczę już ten świat i że światło, wydobywające się z poza horyzontu i mnie oświetlające, wzrok mi zaćmiewa, ale wiem że świat nasz wstępuje w epokę, która urzeczywistni słowa „kochajcie się wzajem".

„Prąd spirytualistyczny, widoczny wszędzie, za którego kierowników ma się wielu próżnych ludzi bez kwestji przybiera żywotne kształty. Ludzie, którzy w niczem miary nie mają, będą ogarnieni formalną manią, szałem kochania się wzajemnie. To zrazu nie pójdzie zupełnie gładko; będą nieporozumienia, niewątpliwie nawet krwawe, gdyż zbyt przywykliśmy wzajemnie się nienawidzić i zbyt nas tego uczyli i to nawet ludzie, którzyby raczej powołani byli uczyć nas miłości. Ale ponieważ to jest oczywistem, że to wielkie prawo braterstwa raz kiedyś musi być spełnionem, więc jestem przekonany, że przyjdzie czas, w którym uczujemy nieprzeparte pragnienie, aby się to spełniło".



Rzeczpospolita Babińska.

Sporo uczonych i literatów poświęcało swe pióro Babinowi. Obecnie „Ateneum" umieściło w trzech zeszytach obszerną i pracowitą jego monografię pióra p. Kazimierza Bartoszewicza. Autor rozpoczął od literatury, tyczącej się Babina, wykazując jak powoli rosła humorystyczna rzeczpospolita u potomnych w znaczeniu i powadze, lubo jedynem i to zdradliwem źródłem do jej dziejów był opis w „Annales" Sarnickiego. I obcy na podstawie ustępu w Sarnickim rozszerzali sławę Babina. Na początku b. wieku odnaleziono akta rzeczypospolitej z drugiej epoki (1601—1670); podał o nich wiadomość pobieżną ks. Szaniawski. Mickiewicz w swych prelekcjach mówił o wysokim stanowisku Babina, Matejko ofiarował genjalny swój pendzel wskrzeszeniu plastycznemu jego przeszłości. Wprawdzie byli tacy, co podejrzywali wielkość Babina, a przeglądający jego akta Stanisław hr. Tarnowski, doznał „rozczarowania". Dopiero wydanie tych aktów przez dra. Windakiewicza stało się kluczem do poznania rzeczypospolitej. P. Bartoszewicz wyciągnął z nich najwięcej dowcipne i charakterystyczne zapiski, a rozebrawszy jakość ich wszystkich w stosunku do ilości, wyraża bardzo niepochlebne zdanie o drugiej epoce Babina, z której akta pochodzą. Humoru było w nich tak mało, że zaledwie na lat parę, a nawet kilka, przypada jedna rzeczywiście dowcipna anegdota.

---

koje na piętrze, ażeby nie mieszać, jak mawiał „śledzi z sardelkami", ale i „śledzie" miały swoje uprzywilejowane apartamenta, do których pośledni kiełbik tylko przez drzwi z zawiścią zazierał.

Tu, u Bronarza omawiano wszelkie sprawy miejskie, układano listy kandydatów na przyszłą kadencyę, głosowano na burmistrza przez podnoszenie kufli do góry... tu pękały butelki starego węgrzyna na zgodę przyjaciół zwaśnionych, podczas burzliwej przymówki na posiedzeniu rady, tu (w pokojach kiełbików) lała się wódka strumieniem i znikały kiełbas salatery podczas samych już wyborów... Tu wreszcie w sezonie martwym ojcowie miasta swatali swoje dziatki płci obojga.. sprzeczali się, jednali, ogadywali po za oczy,.. Tu też niejeden z ojców przespał się wygodnie do ranka na żłobkowatej ławie, a gdy ta z powodu zbyt szerokich barków była mu jeszcze za wąską mógł zejść o jeden stopień niżej.

Rozsmakował się nasz pan Kajetan w wieczorach u Bronarza, zwłaszcza od czasu jak zasiedział parafią przy stole, którego innymi parafianami byli Szeląg, Wywrot, Raniecki, Konstanty Klepka a po części także i Szołomiejski, który jednak, będąc po uszy zagrzebanym w dziennikach i kując politykę zagraniczną jak we dnie tak wieczorami, nie zbyt często do Bronarza zaglądał.

Ale też gdy przyszedł, wówczas na pewno musiała być uciecha i komedya taka, że i na scenie w teatrze lepszej nie usłyszysz.

Ten mały, gruby, nieco ospowaty Raniecki przeklęty miał język i on to zwyczajnie uciechę taką wywoływał. Nie mówił on nigdy zwyczajnym ludzkim głosem, jeno rzucał prędko słowo po słowie, przez co stawał się czasem podobnym do psa podwórzowego, który gestem a radosnem szczekaniem daje przed wieczorem znać gospodarzowi, że już czas by go wypuścił z łańcucha na wolność. Oczy miał przytem czarne jak u kreta, mało ruchliwe, niby czółenko tkackie. Zaczepiwszy kogo, zrazu nie unosił się wcale, dopiero gdy nadokuczał, nawymyślał po swojemu, gdy doprowadził przeciwnika do ostatniej złości, wówczas dopiero sam się zaczerwienił, zaindyczył i zdawało się, że już, już chwyci tamtego za łeb — w tem hultaj macha niby lis ogonem i śmieje się po przyjacielsku i podaje rękę i woła chłopaka, żeby podał „kółko".

Oczywiście, że flegmatyczny, poważny, trochę przeuczony Szołomiejski, mówiący rozciągle, patrzący przez swe duże okulary naRanieckiego jak na malowane wrota, był najlepszym dla niego celem.

Borajski, aczkolwiek wiele zaznawał przyjemności u Bronarza, miał przecież z tego powodu pewną troskę i wyrzuty sumienia.

Gdy on się tu dobrze bawił, śmiał i weselił, w domu w pustych, urządzonych zbytkownie pokojach, przesiadywała piętnastoletnia Lola sama, zdana na opiekę kucharki i towarzystwo myszy, którą nauczyła przybiegać do swych bucików za okruszynkami chleba.

Lolę kochał bardzo, bo ładna była, hoża, rumiana i dobra.

— Żal mi dziewczęcia, nudzi się sama w domu — rzekł raz mimochodem w gronie swoich parafian stolikowych.

A było to mniejwięcej przed trzema laty.

— To ją wydajcie, sąsiedzie, zamąż i będzie spokój — zauważył na to Wywrot.

— Kiedyż bo jeszcze za młoda, ma piętnaście lat dopiero — odparł z troską na czole Borajski.

— Ha, trudno — mruknął Szeląg.

Obok siedzący, głupi Klepka, zaczął się śmiać głośno.

Klepka ten miał głowę jak dynia dużą i twarz czerwoną; nie mówił prawie nigdy, natomiast dusił się od śmiechu bez przerwy. Stanowczo był głupszy od swych towarzyszy.

A w tem zabrał głos stary Szeląg:

— Ot, ojcze Borajski, jabym wam coś przecie mądrego powiedział, żebyście się tylko nie gniewali — tu spuścił wzrok na szklankę i począł ocierać pianę z obwódki.

— No, no, no... tylko śmiało — zachęcił go pan Kajetan.

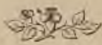
— Hm, ale gniewać się nie będziecie?

— Jak Bóg na niebie, że nie!

— A więc dobrze. Otóż powiedziałbym wam: zamiast wydawać Lolę za mąż,

Mylnem jest przekonanie, jakoby Babin w drugiej epoce gromadził w swych ścianach ludzi najwybitniejszych i był ogniskiem życia towarzyskiego, jeżeli nie kraju, to całej prowincji. Humor jego polegał na mizernem, podziw swą naiwnością wzbudzającem kłamstwie. Wychylanie kielichów było głównem zadaniem urzędników rzeczypospolitej. Pszonkowie, właściciele Babina i burggrabiowie rzeczypospolitej, biorąc udział w rokoszu Zebrzydowskiego, przysięgając na wierność Karolowi Gustawowi, nie świecili bynajmniej obywatelskim przykładem, jak to twierdzili wielbiciele rzeczypospolitej. Już w „Aktach babińskich“ są wskazówki, iż współcześni niewiele sobie robili z Babina, a zupełne milczenie o nim we współczesnej literaturze stwierdza jego podrzędne stanowisko w życiu publicznem i towarzyskiem. Ale jeżeli ta druga epoka Babina, nie przedstawia się zajmująco, to może pierwsza epoka z czasów Zygmunta Augusta i Batorego odznaczała się temi zaletami, jakie tradycja przypisuje Babinowi? Dowodów *za* niema na to żadnych, dowody *przeciw* można znaleść na podstawie rozumowania. P. Bartoszewicz wykazuje, dlaczego Sarnickiemu, piszącemu o tej epoce, wierzyć bardzo nie można; pisarz to podrzędny, zwolennik bajek wszelkiego rodzaju; w jego opisie Babina są sprzeczności i logiczne nonsensy. Łączyła tego pisarza przyjaźń z Kaszowskim, współzałożycielem rzeczypospolitej, łączyła ich i wspólność wiary, obaj bowiem byli kalwinami, a w tem leży zapewne źródło dziwnie przyczepionej do roczników polskich reklamy dla Babina. W pismach tych wszystkich, co, jak Rej, Kochanowski, Paprocki i t. d. mieli brać udział w wesołej rzeczypospolitej, niema ani śladu o Babinie. Milczy o nim i Górnicki, choć osobny rozdział poświęca w „Dworzaninie“ dowcipowi i przytacza liczne przykłady dowcipu czysto polskiego. Sama postać Stanisława Pszonki, założyciela Babina, przedstawia się bardzo dwuznacznie, doszedł bowiem do naszej wiadomości fakt o nim, stojący w rażącej sprzeczności z podaniem Sarnickiego o jego popularności wśród szlachty. Gdyby nie było opisu Sarnickiego, nie wiedzielibyśmy nic aż do odkrycia aktów, że istniała jakaś rzeczpospolita, jeżeli więc wartość i bezstronność tego opisu jest zakwestjonowana, to musi być zakwestjonowaną i wartość samego Babina. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był on takim samym w pierwszej, jak i w drugiej swej epoce. Co do wydania samych aktów przyznaje, p. Bartoszewicz rzeczywistą zasługę p. Windakiewiczowi. Są one, bądź co bądź, ciekawe, jako obrazek życia towarzyskiego pewnych kół szlachty, są dokumentem, może nie budującym, ale uchylającym nieco zasłony z naszej przeszłości obyczajowej. Rozprawa p. B. odznacza się erudycją i jasnem przedstawieniem rzeczy.

R. P.



Szkoła sztuk pięknych
w Krakowie.

Początek bieżącego roku szkolnego stanowi dla krakowskiej szkoły sztuk pięknych chwilę ważną, może nawet najważniejszą w jej dziejach.

Stan, w jakim się ta szkoła znajdowała dotychczas, nie odpowiadał temu, czego społeczeństwo od niej żądało. Nikt nie wątpił, że kraj cały dostarcza szkole sporej ilości talentów prawdziwych, niekiedy niepoślednich. Jeżeli młodzież polska, wyjeżdżająca dla kształcenia się w zawodzie artystycznym do Monachjum i Paryża, wywozi z sobą z kraju tyle wrodzonych zdolności, to niepodobna przypuścić, iżby właśnie grono młodzieńców, kierujących swe kroki ku bramom szkoły krakowskiej nie posiadało między sobą jednostek, wyrastających po nad poziom. Rozumowaniu temu słuszności odmówić nie można. Tem większego doznawano zawodu, patrząc na rezultaty nauki. Ci, którzy sławę malarstwa roznoszą dziś po świecie, wyszli prawie bez wyjątku ze szkół zagranicznych. Kraków nie spełnił oczekiwań, z jakiemi w jego mury na naukę spieszono.

Nie jest dla nikogo tajemnicą, dla czego dotychczas tak było.

W pierwszym okresie istnienia szkoły nie powoływano do Krakowa sił stojących na świeczniku europejskim. Nie było ich wówczas w kraju, a ci co o losach szkoły rozstrzygali nie wierzyli w możność postawienia jej w jednym rzędzie ze znakomitemi zakładami zagranicznemi.

Zanosiło się na zmianę z chwilą powierzenia kierownictwa Matejce. Bronienie wielkiego malarza i wielkiego człowieka od słusznej krytyki, z jaką na tem stanowisku się spotykał, byłoby małostkowością, ubliżającą temu nazwisku. Matejko należy do tych postaci z historyi cywilizacyi, o których można mówić śmiało, bez posługiwania się retorycznemi osłonami. Dziś wiemy, że nie był dyrektorem takim, jakiego ta szkoła potrzebowała.

Błąd tkwił nie tyle w powołaniu Matejki na tę posadę, ile w mylnem mniemaniu, iż przez zamianowanie takiego dyrektora zrobiono już dla szkoły wszystko. Gdyby Matejko był zastał szkołę zorganizowaną wybornie i posiadającą nauczycieli, jakich tylko wyszukać było można, byłby zapewne takim samym dyrektorem, jakich wielu spotykamy za granicą. Inni uczyliby za niego. Szkoła kwitnęłaby dzięki ich pracy. On zaś dodawałby jej blasku swą sławą i zajmowałby się może kilkoma ulubionymi uczniami, wybornie przysposobionymi przez doborowe ciało nauczycielskie. W Krakowie było inaczej. Tu kierownik musiał być zarazem organizatorem szkoły. Musiał własną pomysłowością zapełniać wszystkie braki. Talent organizatorski nie każdemu jest dany.

Nareszcie dokonano reformy zasadniczej. Postanowiono szukać dyrektora na całym obszarze Europy i znaleziono go na dworze cesarskim w Berlinie, w osobie p. Fałata. Sam Fakt przyjęcia tej posady dowodzi, że p. Fałat przejęty jest gorącą chęcią poświęcenia się szkole. Kto w tych warunkach porzuca Berlin dla Krakowa, ten musi mieć wyższy cel przed sobą. Dla karyery — tego się nie robi.

Nowy dyrektor nie poprzestał na siłach nauczycielskich, które zastał. P. Wyczółkowskiego sprowadził z Warszawy, p. Axentowicza z Paryża. Nie byliby pospieszyli na wezwanie, gdyby myśl o kierowaniu młodszemi talentami nie porywała ich za serce, nie nęciła ich fantazyi.

---

ożeńcie się sami, dalibóg... ożeńcie się i już.

— Ej, ta cóż znowu.

— Czemu nie — zawrzeszczał Raniecki — w starym piecu, dyabeł pali. Patrzcie, patrzcie, jak mu się oczy świecą.

— Cóż znowu, cóż znowu, wypraszał się Borajski, zawstydzony naprawdę.

— Jabym wam nawet naraił dobrą partyą.

— Kiedyż bo ja już za stary.

— Tylko nie mówcie tak. Czterdzieści i coś lat... Cóż to znaczy?

— Pewnie, pewnie — żauważyli inni.

— Przyznajcie się tak szczerze, ile macie? — zapytał Wywrot.

— No cóż, ile?... na świętego Marka będzie czterdzieści sześć.

— Otóż widzicie!

— A kogobyście mu dali, ha? — zagadnął rozciekawiony Raniecki, pochylając się przez stół przed same oczy Szeląga.

— Znacie ją dobrze sąsiadeczku.

— A no, a no?

— Pannę Grzebińską... Marcysię Grzebińską córkę Antoniego.

— Dalibóg, złota myśl! — wrzasnął Raniecki. — Panie Borajski, słowo honoru, jazda!... nawet bez popasu! Będzie wesele, bum, bum!...

Tu wsadził Klepce szturchańca w bok, bo mu tenże wśród ogólnego zaciekawienia, nadepnął pod stołem na nogę; równocześnie wrzasnął mu w ucho na przeprosiny:

— Klepka, krzycz „hura!“ będzie wesele!

Wezwany, przyjąwszy wyrozumiale poczęstunek przyjacielski, — omal nie pękł ze śmiechu.

Długo jeszcze rozmawiała wesoła gromadka o tym projekcie, który przyjęto powszechnem uznaniem i zadowoleniem. Ten podniósł piękność panny Marcysi, ów jej wiek dojrzalszy, wkraczający już w drugie ramię trzeciego krzyżyka, tamten znów wychwalał zasługi jej dziadka w zarządzie miejskim około założenia latarń i kostkowych chodników i znaną prawość rodziny Grzebińskich. Dość, że gdy o północy Raniecki, zabierając się do odejścia, jeszcze raz zauważył, iż panna Myrcysia jest bardzo hożą panienką, Borajski klasnął dłonią o kolano i zawołał:

— Hożą? powiadasz... hożą?!

To ostatnie słowo największe uczyniło na nim wrażenie. Za hożemi dziewczętami zawsze przepadał. Hożą była nieboszczka Karolina — Panie świeć nad jej duszą i spraw by mu za złe nie poczytała, że teraz o innej pomyślał! — hożą jest Lola, za co ją właśnie najwięcej miłuje; zresztą i on sam hożym jest jeszcze, mimo, że na święty Marek... Ale mniejsza z tem.

Za przyjściem do domu, spojrzał w zwierciadło i zauważył w nim mężczyznę szpakowatego wprawdzie, ale dzielnego jeszcze i istotnie hożego. Zdrową miał cerę ten co się z lustra do pana Borajskiego uśmiechał, oczy siwe łagodne, brwi krzaczaste, wąsy tęgie, płowe, własnym ciężarem w dół opadające, podkręcone z fantazyą na końcach.

— Możeby pójść dziś jeszcze do Loli i wybadać co ona na to? U niej jeszcze się świeci.

I poszedł.

Lola leżała w łóżku pod atłasową kołderką, ale jeszcze nie spała. Czytała książkę — jakiś romans z „angielskiego“.

Borajski usiadł na krawędzi łóżka i chrząknął.

— Nudziłaś się Loleczko? — zagadnął.

— Nie... trochę — odłożyła książkę na bok z grymasem istoty rozpieszczonej, odczuwającej własne pokrzywdzenie.

— Była u ciebie może która z koleżanek?

— Miała być Marynia, ale nie przyszła.

— Hm... Już ja dobrze widzę, że tobie samej nudno w domu... Tak być nie powinno.

— Był tu pan Franciszek.

— Dawno?

— Może będzie z pół godziny.

— Tak późno?... a on tu po co o tym czasie?

— Powiedział mi przezedrzwi, że chciał ojca prosić o urlop na jutro. Matka jego chora! nawet bardzo chora.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wszystko przemawia zatem, że ludzie, wyrywający się z odmiennych stosunków, by zająć miejsce profesorów w Krakowie, muszą czuć w sobie powołanie do tego zawodu. Wszystko przemawia zatem, że próba się powiedzie. A byłoby źle bardzo, gdyby się nie powiodła. Trzebaby wówczas powiedzieć sobie, że naród, który tylu wydaje malarzy, na nauczycieli malarstwa zdobyć się nie może.

Nowe siły przekształciły już ustrój szkoły. Rysunek z antyków przestał być wyłączną nauką przygotowawczą i ustąpił w znacznej części miejsca rysunkowi z natury. Zamiast podziału na kursy, powstał podział na oddziały równoległe. Budzi to współzawodnictwo i zbliża szkołę do wzorów zagranicznych.

Przyznać trzeba, że społeczeństwo powitało reformę życzliwie. Jeżeli atoli chce dowieść życzliwości stałej, powinno teraz uzbroić się w cierpliwość. Nie tailiśmy, że dawna szkoła nas nie zachwycała. Pochwaliliśmy powołanie nowych sił. Zrobiliśmy, co do nas należało. Teraz czekajmy.

Trzeba dyrektorowi i profesorom dać czas na zasłużenie sobie na wdzięczność społeczeństwa. *T. Ad.*

Sprawy ekonomiczne.

Najnowsze kierunki w nauce gospodarczej.[1]

W pierwszej połowie października urządziło „Stowarzyszenie dla polityki społecznej“ (Verein für Sozialpolitik) w Berlinie kurs naukowy z dziedziny najważniejszych bieżących kwestyi ekonomicznych. Przed audytoryum z przeszło 800 osób, złożonem z przedstawicieli wyższej inteligencyi i wszystkich warstw, wykładali najwybitniejsi profesorowie uniwersyteccy Niemiec swoje teorye, zaś w godzinach wieczornych zbierali się uczestnicy na swobodne dyskusye o traktowanym z katedry przedmiocie. Jednej sceny z tych wieczorów nie zapomnę. Na sali było obecnych około 400 osób, ludzi starszych, profesorów, urzędników, etc., dających już dowód swojem stanowiskiem, tudzież pojawieniem się tutaj o tej porze po siedmiogodzinnej pracy naukowej w dzień, że są w sprawach społecznych więcej niż dyletantami, ulegającymi modzie. Debatami kierował prof. Adolf Wagner, który w szeregu prelekcyi wygłaszał apoteozę socyalizmu państwowego. Po zamknięciu dyskusyi powstał i wyraził zdziwienie, że nikt nie zabierał głosu ze stanowiska ekonomii liberalnej, indywidualistycznej, ze stanowiska manczesteryzmu. A przecie szkoła to potężna i w nauce wielce zasłużona. Kilkakrotnie prosił, by się nie krępowano ubocznemi względami; wśród 400 ludzi inteligentnych, zajmujących się ekonomią polityczną, musi przecież być jakiś prawowity uczeń Smitha, Ricarda, Bastiata.... A gdy mimo tego wezwania nikt głosu nie zabrał, rozjaśniło się oblicze rektora, ręce zatarł z najwyższem zadowolnieniem i ze świadomością człowieka konstatującego fakt historyczny, do którego wywołania sam też niemało się przyczynił, wyrzekł:

— Więc liberalizm już nie żyje!

Był to tryumf teoretyka; w praktyce zbankrutował liberalizm *ekonomiczny* już dawno. Nietylko Niemcy, przodujący całemu światu na drodze socyalizacyi urządzeń ekonomicznych za pośrednictwem prawodawstwa, ale także Austrya, Rosya, nawet ojczyzna „ekonomii klasycznej.“ Anglia,*) zerwały z zasadą nieograniczonej swobody indywidualnej w dziedzinie organizacyi produkcyi i wymiany dóbr. Jedna tylko Francya pozostała w tyle za resztą Europy. Uspołecznienie wyraża się w trojakiej formie. Państwo (względnie podwładne mu ciało zbiorowe: gmina) występuje bezpośrednio jako przedsiębiorca i producent, wykupiwszy np. i prowadząc we własnym zarządzie koleje żelazne — gminy, prowadząc np. na rachunek komunalny oświetlenie i wodociągi; państwo reguluje warunki produkcyi, stosunek robotnika do przedsiębiorcy, zajmuje się losem proletaryatu (przez ubezpieczenia robotników, instytucyę inspektorów i sądów przemysłowych, etc.); państwo reguluje za pomocą odpowiedniego ustawodawstwa *podatkowego* najjaskrawsze niesprawiedliwości nierównego podziału dóbr (opodatkowanie majątku, podatek progresywny). Wszystkie te kategorye interwencyi siły zbiorowej w dziedzinie ekonomicznej istniejące już nawet w najkonserwatywniejszych społeczeństwach, należą w kroczącej na czele postępu Francyi do haseł wysoce niebezpiecznych. Nienawiść większości parlamentu do teraźniejszego gabinetu Bourgeoisa nie pochodzi ztąd, że losy ojczystej polityki zagranicznej powierzono uczonemu gabinetowi, lecz że wydział finansów oddano człowiekowi, któremu przyświeca hasło podatku dochodowego. Pamiętamy, jak solidarnie popierał parlament Dupuya, skoro ten rozwiązywał rady gminne za założenie apteki, lub piekarni zbiorowej, podczas gdy w Niemczech niedalekim jest może czas, kiedy wszystkie apteki i cały handel zbożem przejdzie z rąk prywatnych do rąk największego ciała zbiorowego — państwa.

Wśród tego wiru sprzecznych interesów i dążności pojawia się bardzo na czasie książka, przyswojona naszej literaturze przez znaną pracownicę na polu nauk filozoficzno-społecznych. Powstało to dziełko z wykładów, które wygłosili najwybitniejsi przedstawiciele różnorodnych szkół ekonomicznych, zaproszeni przez „Chrześciańskie towarzystwo ekonomii politycznej w Szwajcaryi“ w zimie 1690 roku w Genewie. Prelekcya przedstawiciela socyalizmu naukowego M. P. Stieglera została wypuszczoną, natomiast mamy wykłady profesora ekonomii politycznej w Instytucie katolickim w Paryżu, Klaudyusza Janeta o szkole La Playa, — o nowych szkołach przez prof. ekonomii w Montpellier Karola Gide'a. — zaś o szkole liberalnej przez członka Instytutu Fryderyka Passy'ego. Każdy z nich jest reprezentantem innego świata pojęć i dążności a każdy wypowiedział je z tą żywością, jasnością myśli i polotem formy, jaka jest właściwą duchowi francuzkiemu.

Jakiem jest stanowisko nauki w dokonywającym się procesie ewolucyi ekonomiczno-społecznej? Co do tego punktu istnieje w sferze specyalistów różnica zdań, która dotąd daleka jest od wspólnego mianownika. Zaostrzyła się ona do rozmiarów walki, gdy przed dwudziestu pięciu laty grono niemieckich uczonych i polityków zorganizowało w Eisenach „Stowarzyszenie dla polityki ekonomiczno-społecznej“; zawrzała ta walka znowu przed 10 laty, gdy prof. uniwersytetu wiedeńskiego Antoni Menger wydał głośne swoje „Untersuchungen“ co do metodologii, w których praktyczne zagadnienia ekonomiczne, np. politykę przemysłową, skarbowość, zalicza raczej do dziedziny sztuki, niż nauki. Na tym punkcie zgody dotąd niema i prawdopodobnie nie będzie. Stary sceptycyzm zauważył już, że gdyby pytanie: dwa razy dwa — dotyczyło bezpośrednich interesów ludzkich, nie byłoby dotąd „definitywnie“ rozwiązane; cóż dopiero pytania burzące namiętności i interesy najbardziej osobiste, najdrażliwsze, będące podstawą dobrobytu majątkowego i stanowiska społecznego.

Na te spory co do kwestyi czysto praktycznych, aktualnych, nauka odpowiedzi nie daje i dać nie może. Medycyna teoretyczna jest nauką, ale zapisywanie recept jest sztuką: dyagnoza, przewidywanie komplikacyi, przystosowanie terapii do złożonych właściwości organizmu, jest rzeczą tak dalece zależną od dwóch indywidualności, leczącego i leczonego, — iż o stałych prawidłach nie ma mowy. W ogóle wszelkie przystosowanie jest już li tylko sztuką, cóż dopiero wobec takiego organizmu, jakim jest społeczeństwo. Nauka ma za zadanie wiązanie ze sobą pewnego szeregu typowych zjawisk łańcuchem przyczynowości. Ściśle stwierdzona ta zależność jest dla nas prawem i możemy z niej wnioskować, że gdyby kiedyś ponowił się dany szereg przyczyn, otrzymalibyśmy z nich analogiczny, znany już nam rezultat. Z tego wychodząc założenia łatwo poznać, o ile może być mowa o prawach, t. j. o prawdziwej nauce w ekonomii i polityce społecznej. Jedna jak i druga dziedzina z największą tylko ostrożnością i w najbardziej ogólnych tematach formułuje swoje prawa i tendencye, jedna jak i druga zostawia bardzo szerokie pole subjektywizmowi i omyłkom. Co innego — polityka, ta szuka nie praw i prawd, lecz najpraktyczniejszych środków do osiągania korzyści chwili, ale o ile się liczy z nauką, o ile postępuje w myśl jej wskazówek, poznaje i zużytkowuje wskazane przez nią w danym kompleksie zjawisk zawarte prawa lub tendencye, o tyle posiada owa polityka większą żywotność i może liczyć nie zawsze na efekt chwili, ale często na przyszłość.

Rozważając z tego stanowiska wywody trzech prelegentów, które przedstawiają we Francyi „najnowsze kierunki w nauce gospodarczej“ (powinno być „współczesne“, gdyż mowa tu przeważnie o istniejących od dawna kierunkach), należy przyznać miano naukowości jedynie wywodom prof. Gide'a.

Reprezentant *szkoły wolności*, Passy, posługuje się metodą dedukcyjną, a kontroluje ją szeregiem faktów, anegdot z życia sławnych ludzi, cytat z „samego“ Bastiata, którym można przeciwstawić setki wręcz przeciwnych. Zdaje się, że nie przyjmuje teoryi ewolucyi, ma typowy, przez wszystkie czasy i stosunki identyczny ideał człowieka i państwa i w sprawach gospodarczych przyznaje li pierwszemu rolę czynną, drugiemu zawsze bierną. Zdrowy rozsądek, na który się powołuje, szepce mu atoli, że owoc tysiącletniej kultury: państwo musi być czemś więcej niż żandarmem. Ztąd rozmaite sprzeczności i brak konkretnego programu; raz przyznaje mu „rolę opiekuńczą i zapobiegawczą“ (więc np. cła opiekuńcze? fabryczne ustawodawstwo ochronne?), to wraca do starej piosenki, że powinno ono „w zakresie rolnictwa, przemysłu, handlu etc., przez neutralność i bezstronność swoją zapewnić każdemu swobodny rozwój sił jego i zdolności“. Są to pojęcia rudymentarne, we Francyi toczące konwulsyjną walkę z nowym duchem czasu; wolność bezwzględna święci tam ostatnie swoje orgie, męty Panamy i kolei południowych — oto, co na dnie jej kielicha widnieje.

Janet mówi o *szkole autorytetu*, o La Playu. Szkoła ta wychodzi z założenia czysto religijnego, więc eo ipso usuwa się z pod debaty naukowej. Z tego powodu musi tłomaczka w przypiskach często polemizować

[1]) „Najnowsze kierunki w nauce gospodarczej“. Tłumaczenie z francuskiego przez dr. Zofię Daszyńską. Warszawa 1896.

*) Zobacz ciekawe studyum Sydney-Webba „Socyalizm w Anglii“.

z prelegentem. Wielbi on np. ustrój gospodarczy współczesny za to, że umożliwia „przechodzenie dzięki oszczędności i zdolności produkcyjnej coraz większej liczby jednostek z klasy pracującej do średniej, wytwarzając tę szeroką podstawę, jaka cechuje nasze społeczeństwo nowożytne“, kiedy obserwacya codzienna i statystyka udawadniają, że czas nasz cechuje się właśnie zanikiem klas średnich, zogniskowaniem bogactw z jednej a proletaryzacyą z drugiej strony. Gdyby tak było, jak autor twierdzi, nie byłaby potrzebną żadna akcya społeczna, żylibyśmy w najlepszym ze światów; on sam jednak widzi straszne rozmiary współczesnej kwestyi społecznej i chce ją załatwić przez przywrócenie *autorytetu* kościoła w obec wszystkich, ojca wobec rodziny, majstra w warsztacie; chce nas przenieść w wiek XVI. Ignoruje więc maszyny i spowodowane przez nie zawikłania, ignoruje fakt, że dzisiaj wytwarza się dla rynku światowego a cofnięcie produkcyi wstecz byłoby zatem całkowitym upadkiem zdolności konkurencyjnych danego społeczeństwa wobec drugich. Apeluje głównie do wolnej woli jednostek, nie uwzględniając wcale tendencyi rozwojowych. Jako *politycy* mogą mężowie tej szkoły — stronnictwo hr. de Mun we Francyi, centrum w Niemczech, chrześciańsko-socyalne w Austryi — święcić chwilowe tryumfy, postępując jednak wbrew wskazówkom nauki muszą prędzej lub później zbankrutować lub paść pod ruinami spowodowanego przez własną agitacyę powszechnego upadku.

Prof. Gide zbliża się tak w metodzie, jak i w dążeniach najwięcej do współczesnej nauki. W ogólnych zarysach określa współczesne „nowe szkoły“, szczególnie w Niemczech. Zgodne one wszystkie z tem, iż w przeciwieństwie do liberałów badają zjawiska i instytucye ekonomiczne w stanie dynamicznym, ewolucyjnie: wszystkie są kategoryą historyczną. Z tego też wynika, iż nie mają autorytetu, dogmatu, i muszą zmienić się w przyszłości. „Na równi z kolektywistami przekonani o możności istnienia porządku społecznego wyższego niż istniejący dzisiaj... przystajemy na tło kolektywizmu“. Nie wykazał atoli autor, o ile podobna dążność jest zawarta potencyalnie we współczesnym ustroju, o ile jest koniecznością rozwojową — co byłoby przeniesieniem sprawy ze sfery chęci w sferę nauki.

Ze szkołą La Playa szkoła nowa ma analogię głównie w solidarnem akcentowaniu czynnika etycznego, oczywiście inaczej pojętego. Odwołuje się ona jednak nie do autorytetu, „nie zadawalnia się laisser-faire'yzmem, nie poprzestaje nawet na odwołaniu się do osobistej energii człowieka, ale śmiało żąda interwencyi państwa, która przeobrazić powinna środowisko społeczne“. Jestto uogólnienie ze strony Gide'a trochę za śmiałe; co do programu praktycznego, istnieją między głównymi przywódcami nowego kierunku w Niemczech, między prof. Wagnerem, Brentano i Schmollerem różnice bardzo głębokie; zgodni oni jednak w haśle, które Gide szczęśliwie obrał dla wszystkich, zowiąc ich „szkołą solidarności“. Tak przez swą metodę, która bada społeczeństwa w ich rozwoju historycznym i doszukuje się łańcucha, wiążącego zjawiska dzisiejsze z dawniejszemi, a żyjące pokolenia z temi, co już wymarły, — przez praktyczną swą dążność do przemiany człowieka i środowiska, w którem żyje, — wreszcie przez uznanie udziału państwa, uważanego za wyraz węzła niewidzialnego, ale rzeczywistego, który ludzi żyjących łączy we wspólne społeczeństwo, jest ona istotnie szkołą solidarności.

Wilhelm Feldman.



W sprawie Banku Ziemskiego.

Z prowincyi.

W ostatnim czasie pojawiły się w rozmaitych pismach artykuły w sprawie Banku Ziemskiego. W artykułach tych zwracano uwagę na nową emisyę akcyi tegoż Banku i żądano ze wszystkich stron czem prędszego jej pokrycia. Nie wchodzę w to, czy i o ile artykuły te, pojawiające się w „Kraju“, w „Czasie“ itd., miały swój początek w Poznaniu — do takich rzeczy przyzwyczajono nas, zresztą są to sposoby praktykowane w świecie finansowym od dawna. Nie zabierałbym też głosu w tej sprawie, gdyby nie korespondencya w nr. 273 „Dziennika Poznańskiego“ z dnia 28 listopada i załączone do niej uwagi redakcyi.

Korespondencya ta brzmi:

„Artykuł w sprawie drugiej emisyi Banku Ziemskiego wzbudził w nas żywe zainteresowanie. Nie mamy wcale zamiaru zgłębiać tu kwestyi, czy sama powszechna w kraju nędza, czy też w części pewne potępienia godne zobojętnienie ogółu — albo nawet wreszcie i brak należytej agitacyi w tej sprawie stał się przyczyną, iż emisya ta dotąd pokrytą nie została. Chodzi nam jedynie o zaradzenie złemu i wyszukanie środków, aby jak najspiesznięj kapitał zakładowy uzupełnić.

„Zapytujemy zatem niniejszem, czemubyśmy pieniędzy złożonych na fundusz Kościuszkowski jako i na dar dla Kardynała Ledóchowskiego nie umieścili w akcyach tak patryotycznej, a zarazem tak pewnej instytucyi, jaką jest Bank Ziemski?

„Prosimy myśl tę poddać pod sąd ogółu — a może znajdzie poparcie“.

„Od Redakcyi. Czynimy zadość życzeniu powyższemu i podajemy, że, o ile nam wiadomo, z wielu stron wyrażają to życzenie zwłaszcza co do funduszu Kościuszkowskiego. Co do drugiego, to nie wiemy, co zamierza komitet z zebranym funduszem zrobić.“

Tyle „Dziennik Poznański“.

Przeciw takiemu projektowi powinnibyśmy stanowczo założyć protest.

Autor powyższego projektu nazywa Bank Ziemski „instytucyą tak patryotyczną i tak pewną“.

Wszystkie niemal nasze instytucye finansowe zaszczycamy mianem „patryotycznych“ — i w tem nasza zguba.

Dla patryotyzmu kupowaliśmy akcye Tellusa, Małeckiego i Sp., banku Toruńskiego, Towarzystwa nafty, Kwileckiego i Sp., — dla patryotyzmu milczeliśmy o tem, cośmy publicznej powinni byli poddać dyskusyi — i cóż się stało? oto jedna instytucya po drugiej upadała i upada.

O każdej naszej instytucyi piszemy przez patryotyzm, że jest „świetnie prowadzoną“ — „jak najpewniejszą“, dopóki.... nie runie. Z upadkiem jej dopiero dowiaduje się społeczeństwo, że od lat tylu a tylu źle ją prowadzono, że należycie nie odbywano kontroli itd. Takie postępowanie jest wyzyskiwaniem patryotyzmu. Powinniśmy wychodzić z tego założenia, że nasze instytucye finansowe są tylko wtenczas patryotycznemi, jeżeli dobrze stoją.

1. Co do Banku Ziemskiego, to rozpisują się tyle o tem, że kupowanie akcyi tego banku, to najpewniejsza lokacya kapitału. Twierdzący to albo nie znają się wcale na rzeczy, albo okłamują z rozmysłem społeczeństwo.

Bank Ziemski jest towarzystwem akcyjnem. Akcye towarzystw akcyjnych

a) albo mają kurs na giełdzie — wtenczas można ich się każdej chwili podług kursu pozbyć,

b) albo nie mają kursu — wtenczas (z wyjątkiem przypadkowej sprzedaży) pozbyć ich się wcale nie można. Pieniądze, zapłacone za akcyę otrzymujemy z powrotem dopiero przy rozwiązaniu towarzystwa akcyjnego, ale i wtenczas tylko w tym razie, jeżeli po zapłaceniu wszystkich długów pozostanie tyle kapitału, na ile brzmią akcye.

Akcye Banku Ziemskiego nie mają kursu — pozbyć się ich zatem nie można i pieniądze, zapłacone za akcye, otrzyma się dopiero po rozwiązaniu banku. Kupujący więc akcyę Banku Ziemskiego musi sobie z góry powiedzieć, że pieniędzy, zapłaconych za nią, nie ujrzy tak szybko z powrotem. Z tego wynika, że nie powinien kupować akcyi nikt, ktoby mógł zapotrzebować kapitału wyłożonego za nią, albo innemi słowy, że akcye Banku Ziemskiego może tylko ten kupować, kto się obyć może bez kapitału, potrzebnego do ich zapłacenia.

2. Gdyby ktoś pocieszał się dziwnem przypuszczeniem, że bank się rychło rozwiąże, a zatem pieniądze rychło wrócą do rąk akcyonaryuszów, popełniłby fatalny błąd kombinacyjny.

Z natury rzeczy wynika, że każde Towarzystwo akcyjne istnieje tak długo, jak tylko się da: rozwięzuje się tylko wtenczas, gdy już dalej istnieć nie może.

Czasem towarzystwa akcyjne rozwięzują się nie w ostatniej chwili dopiero, lecz już wcześniej, skoro tylko powstaje dla akcyonaryuszów *obawa* strat, — ale to dzieje się tylko tam, gdzie bądź to pojedyńcze osobistości, bądź to pojedyńcze instytucye finansowe mają w swem ręku większą ilość akcyi, a to tak wielką, że z jednej strony nie chcą się narazić na dotkliwą stratę, z drugiej zaś, posiadając tyle głosów do akcyi przywiązanych, mogą decydować o likwidacyi.

O Banku Ziemskim powiedzieć tego nie można; tu nigdzie wielka ilość akcyi nie spoczywa w jednem ręku. To też Bank Ziemski niewątpliwie istnieć będzie tak długo, jak tylko będzie mógł, i rozwiąże się wtenczas dopiero, gdy zabraknie funduszów.

Czyż było u nas z jakąkolwiekbądź instytucyą finansową inaczej?

3. Wspominano w artykułach, tyczących się Banku Ziemskiego, o tem, że Bank Ziemski płaci procenty w formie dywidend, że zatem kapitały, umieszczone w akcyach, przynoszą korzyść.

Prawda — ale nie są to odsetki o stałej stopie procentowej, tylko odsetki, zależące od zysku, jaki Bank Ziemski w swych interesach osiąga. Nie będzie Bank Ziemski miał zysków, to nie będzie płacił żadnych dywidend, i kapitały włożone w akcye nie będą przynosiły żadnych odsetek.

4. Projekt obrócenia funduszu Kościuszkowskiego na zakupno akcyi jest więcej jak lekkomyślnością. Pomimo to nie wątpimy o urzeczywistnieniu tego zamiaru. Cóżby u nas nie było możliwem?!

Coś podobnego zrobiono swego czasu ze składkami na teatr poznański. Z ówczesną sprawą miała się rzecz o tyle inaczej, że składano się chociaż pośrednio na cel pierwotnie zamierzony. Ale tu składano pieniądze na całkiem odrębny przeznaczeniem fundusz Kościuszkowski, a za to ma się kupować akcye Banku Ziemskiego. Ciekawi też bylibyśmy, jak sobie autor owego projektu i Redakcya „Dziennika Poznańskiego“ przedstawiają przeprowadzenie tej manipulacyi. W wysokości funduszu Kościuszkowskiego zakupionoby akcye Banku Ziemskiego, — ale co zrobionoby z temi akcyami? Należałoby:

a) albo dać te akcye pewnym osobom — a wtenczas przyszłyby te osoby do ich posiadania nie za swoje pieniądze,

b) albo nie danoby tych akcyi nikomu, a wtenczas akcye w wysokości kapitału Kościuszkowskiego nie miałyby nigdy żadnych reprezentantów.

Ale któżby się tam u nas pytał o takie bagatele!! *X. X.*



Opieka nad dziećmi.

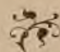
Dziś, gdy u nas opinia publiczna i prawo zajmują się coraz bardziej dziećmi wszelkiego rodzaju, warto w tym dziale stosunków rozejrzeć się na Zachodzie. Przedewszystkiem na uwagę zasługują domy podrzutków we Francyi. Roku 1791 Zgromadzenie narodowe postanowiło, aby społeczeństwo przyjęło na siebie obowiązek opieki nad podrzutkami, a we dwa lata później wydano prawo, na którego mocy każdy obywatel mógł żądać, aby jego dzieci chowane były na koszt narodu. R. 1804 zaprowadzono w Lyonie pierwszy żłóbek, a Napoleon z bardzo zrozumiałych względów (wielkie mordercze wojny pochłaniały ludność i wymagały ochrony pozostałej) r. 1811 zaprowadził obowiązkowo takie urządzenia w każdem „arrondissement", tak iż ogółem powstało ich 251. Nic więc dziwnego, że liczba podrzutków (w 1784 r. 40,000) wzrosła w r. 1833 do 130,945, a koszt utrzymania do 10 milionów fr. rocznie. Od tej chwili następuje zanik instytucyi; r. 1860 liczono we Francyi 175 żłobków, dziś nie ma ich prawie wcale. Matki znajdują się pod ścisłą kontrolą, ale natomiast otrzymują przez pierwsze trzy lata życia dziecka zapomogę; w ten sposób około 20 tysięcy dzieci korzysta z opieki publicznej. To samo widzimy w Belgii, gdzie matki, nie posiadające mężów, otrzymują przez trzy lata 25 fr. miesięcznie, o ile same karmią i wychowują dzieci. Podobnie ukształtowały się stosunki w innych krajach (w Austryi). We Włoszech żłobki jeszcze są popierane, ale i tam zapewne niedługie będzie ich istnienie. Potępiając bezużyteczność tych urządzeń, należy zdawać sprawę z warunków, w jakich się rozwijały. Były to zawsze zakłady okropne pod względem hygienicznym. Smiertelność wynosiła w nich 60—80%, a były i takie, gdzie ze stu wychowańców dwu zaledwie przeżywało czternasty rok; panowały tam najbardziej mordercze epidemie. Wywołało to surową reakcyę pzeciwko żłobkom. Zdaje się jednak, że zamiast w przyczynę, uderzono w skutek; widziano tylko rezultaty, nie zwróciwszy uwagi na to, że wypływały one, być może, wcale nie z systemu.

W Niemczech rozwój szedł inną drogą. Tam instytucya żłobków nie przyjęła się zupełnie, co poniekąd przypisać należy zasadzie prawa niemieckiego, które zobowiązuje ojców do płacenia alimentów. Praktyka atoli wskazała, że ta droga do celu nie prowadzi: matki „panny" rzadko tylko pozywają ojców o koszta, przyczem według zwyczajów niemieckich, przysądzano niewielkie sumy. Obecny projekt ustawy cywilnej dla państwa niemieckiego wprowadza tutaj wiele dobrego. Utrzymanie, jakie obowiązany jest dać ojciec, obejmuje całokształt potrzeb materyalnych, wychowawczych i przygotowawczych do przyszłego zawodu. Alimenty płacić jest obowiązany aż do 16-go roku życia dziecka, przyczem ponosi koszta porodu i sześciotygodniowego utrzymania położnicy i dziecka za kwartał pierwszy — z góry, przed porodem. Sąd może wydać w każdej chwili stósowne rozporządzenie. Pomimo całego postępu, prawo to zawiera jeden z najważniejszych błędów dawnych, który tkwi w samym procesie utrzymywania alimentów. Zazwyczaj wstyd nie pozwala dziewczynie odwołać się do pomocy sądu, albo nie wie ona, gdzie się ojciec znajduje, wreszcie musi z wyrokiem w ręku ściągać każdą ratę oddzielnie. W końcu proces wymaga pomocy adwokata i trwa od jednego do trzech miesięcy. To też w Lipsku np. zaledwie czwarta część mających prawo do tego, korzysta z pomocy sądu.

Smutne, zaprawdę są losy dziecka „bez ojca" na bruku wielkomiejskim. Matka — robotnica zazwyczaj — przy pracy, nie ma czasu dla doglądania swej dzieciny, a gdy zarobku zabraknie, żywić ją tylko może własnym głodem i własnemi łzami. Smiertelność śród takich niemowląt jest straszna. W Berlinie 40% nie przeżywa roku, najwięcej bywa martwo urodzonych. Statystyk niemiecki, prof. Boeckh, obliczył, że śmiertelność dzieci, żywionych mlekiem zwierzęcem, jest sześć razy większa, niż karmionych piersią matki. Zazwyczaj trzecia część niemowląt oddawaną jest „na garnuszek" po za granice miasta i to w pierwszym kwartale życia. Matki obowiązują się płacić w pierwszym roku 15, w następnych 10—12 marek miesięcznie. I w Niemczech ujawniano nieraz smutną rolę „fabryk aniołków"; mimo to wielu badaczy stwierdziło bardzo żywą ofiarność tych rodzin, które przyjmują dzieci na wychowanie, połączone niekiedy z materyalnym nakładem własnym, gdy matki np. w czasach zastoju nie mają pracy. Owe atoli okrutne doświadczenia, których my zakosztowaliśmy w sprawie Skublińskiej, wywołały nadzór lekarski i policyjny nad wychowańcami. W Anglii uczyniło to już roku 1872 „Infant life protection act", we Francyi — gdzie w samym Paryżu rok rocznie 20,000 dzieci bywa wysyłanych do okolic, w r. 1874 oddano tam pod opiekę prawa wszystkie takie niemowlęta poniżej dwu lat wieku. — W różnych dzielnicach Niemiec rozciągnięto ten dozór i nad cztero i sześcioletniemi. Gdzieniegdzie udało się zachęcić do odwiedzania owych dzieci kobiety z różnych stowarzyszeń filantropijnych z rezultatem pomyślnym. Gdzie jednak, jak w wielkich miastach, (Berlin, Lipsk, Drezno) pozostawiono to organom policyi, tam opieka nie przyniosła pożądanych owoców. Ważne ma znaczenie kontrola zdrowotna, wprowadzona w kilku miastach niemieckich. Nadzór ten spełnia lekarz, który ma do pomocy siedem wyspecyalizowanych dozorczyń. Każde dziecko, oddawane na wychowanie, musi mu być przedstawione w pierwszy piątek po przyjęciu. Po oględzinach, w razie potrzeby (w wypadku np. przymiotu) chore niemowlę natychmiast odsyłane jest do szpitala. W ciągu następnych ośmiu dni leka z odwiedza sam mieszkanie rodziców przybranych i sprawdza, czy odpowiada ono warunkom hygienicznym, poczem w oznaczonych odstępach czasu czynią to dozorczynie. Każda „matka" otrzymuje książkę, gdzie prócz uwag lekarza i dozorczyń, znajduje wykład postępowania względem dziecka. Instytucya lipska ma jeszcze jedne wyjątkowo ważną zaletę: Połączyła się ona ze „Stowarzyszeniami opieki nad ubogimi" i tym sposobem, w razie jeżeli matki faktycznie za dzieci swe płacić nie mogą, pośredniczy w udzielaniu zapomóg. Kobieta wezwana do zarządu, musi przedstawić stosunki majątkowe i wskazać ojca, który z obawy przed stowarzyszeniem urzędowem, płaci regularnie swoje składki alimentacyjne. Obecnie nawet cała ta procedura odbywa się natychmiast przy oddawaniu dziecka. Skargi alimentacyjne stały się coraz rzadszemi, a ojcowie wnoszą zapomogi wprost do Stowarzyszenia opieki nad biednymi. W ten sposób zyskano dużo czasu i nadano całej operacyi charakter istotnej opieki nad opuszczonemi i bezbronnemi. Raz do roku odbywa się przegląd ogólny dzieci. Jest to także bodziec dla wychowawczyń do wzajemnego prześcigania się w staranności. Najlepsze matki otrzymują nagrody.

Drezno poszło za przykładem Lipska ze skutkiem jak najpomyślniejszym pod względem sanitarnym. Po tych ulepszeniach pójdą dalsze. Opieka będzie rozciągnięta i nad dziećmi, pozostającemi na wychowaniu u krewnych matki, oraz nad tymi, którzy za sumę ryczałtową podejmują się wychowania, wreszcie nad dziećmi prawego pochodzenia, oddanemi przez rodziców obcym.

Humanus.



Kronika wiedeńska.

Wiedeń, 2go grudnia 1895.

(Humanitarny objaw ze strony ministra finansów. Poseł Rutowski, a emigracya włościan galicyjskich).

Miejsce ministra finansów zajął ponownie nasz rodak. Czy będzie on lepszym od dawnych ministrów, — to się okaże później, na razie stara się p. Biliński być więcej od nich *ludzkim*. Myli się jednak, kto sądzi, że na własne ryzyko obniża on stopę podatkową, albo z własnej kieszeni płaci zaległe obole; tego nie czyni, wydaje natomiast swoim urzędnikom polecenia, aby przy ściąganiu podatków, przy licytowaniu ruchomości i nieruchomości za długi do skarbu państwa, funkcyonaryusze urzędowi byli *grzeczni, uprzejmi i pełni wyrozumiałości* dla kontrybuentów państwa. Nam się zdaje, że rozporządzenie takie jest np. dla Galicyi, gdzie chłop często niema co jeść, bardzo drugorzędną sprawą — i daleko byłoby lepiej, aby ministeryum postarało się raz już przecież o sprawiedliwszy rozdział podatków między płacące je klasy, aby z biednego chłopa lub rzemieślnika nie zdzierano ostatniego kaftana z chwilą, kiedy pierwszy lepszy giełdziarz żydowski kapitały stutysięczne, nie obciążone żadnym podatkiem, nosić może w kieszeni. Do umoralnienia urzędników fiskalnych nie przyczyniało się dawanie im procentów za wydarte dłużnikom państwowym kwoty, albo zapisywanie im pochwał w stan służby za wyśledzenie utajonej wysokości pozostawionego testamentem kapitału, — nie przyczyni się również nakaz wyżej wspomniany.

Chłop galicyjski, wyciśnięty z jednej strony przez śrubę podatkową, z drugiej przez biednego i walczącego z nędzą — ale sprytniejszego odeń żyda, dochodzi teraz wprost do ostatecznej i strasznej rozpaczy. Rozumieją sytuacyę żydki pruskie i polskie i urządzają formalną nagankę do Brazylii i innych krajów Ameryki. Tysiącami pędzą na oślep ofiary „lepszej doli" przez Wiedeń do Włoch, a ztamtąd dalej do obiecanego raju. Agenci *sprzedają* literalnie chłopa galicyjskiego w niewolę, odarłszy go tutaj z ostatnich resztek mienia i odzieży i nastraszywszy kryminałem w razie powrotu. Chłop, owa siła ludu, która wszędzie stanowi podwalinę dobrobytu, w Galicyi uważa się za bydlę niewarte nawet transportu do innego „becyrku". Niedawno temu, bo zaledwie rok minął, kiedy zabraniano emigrować i złapanych na drodze rzeczywiście karano aresztem. Dzisiaj przynajmniej wolno wyjeżdżać nienależącym do wojska, kobietom i dzieciom. Chcąc ułatwić ową emigracyę i ocalić wyjeżdżających przed szponami biur tran-

sportowych i ich agentów, zawiązało się we Lwowie — (emigrują najwięcej chłopi z za Lwowa lub w ogóle z Rusi) — „towarzystwo śgo Rafała“. Zdobyło ono sobie już nawet pewnego rodzaju zaufanie emigrantów, których starało się zaopatrzyć we wszystko, co potrzebne jest w drodze, a zapewniło nawet wygody pewne i ułatwienia na kolejach i okrętach. Podczas gdy koleje państwowe w Galicyi, gdzie urzędnikami są sami Polacy, transportowały większe partye wychodźców wozami przeznaczonemi dla bydła i koni — *(fakt autentyczny)* — pomimo, że każdy z tych jadących *płacił za bilet 3-ciej klasy*, i pchano w ten sposób ulokowanych jednym ciągiem ze Lwowa do Wiednia, to zarząd kolei południowej, prywatnej, oddawał partyom osobny pociąg, zważając, aby nie było przepełnienia. Członkowie Tow. śgo Rafała robili wszystko bezinteresownie i postarali się nawet o *bezpłatny przewóz emigrantów z Tryestu do Brazylii*. Duszą tego przedsięwzięcia jest dr. Stanisław Kłobukowski, który nietylko skierował wychodźców do jednej prowincyi, „aby byli razem“, ale namówił kilku księży i nauczycieli do jazdy z partyami, a ostatecznie sam do Brazylii wyjechał, aby u rządu brazylijskiego starać się o pewne możliwe ułatwienia. Naturalnie, taki idealny człowiek nie rodził się w Galicyi, dla tego też pozazdroszczono mu jego pracy i starań, i jak to w Galicyi zwyczajem, powiedziano, że ma on i ma Tow. śgo Rafała interes osobisty w wywożeniu chłopów do Brazylii, dalej zaś, że p. dr. Kłobukowski zobowiązał się rządowi w Brazylii dostarczyć 10,000 galicyjskich chłopów. Powiedziano to w Kole Polskiem parlamentu austryackiego, — w tem kole, którego niektórzy członkowie chłopom przy robocie płacą po 20 centów dziennie, wydając tysiące guldenów żydom podczas akcyi wyborczej, aby tylko wejść do Rady państwa. Powiedział to poseł Rutowski, który zajmował się niefortunnem ułożeniem reformy wyborczej, a przy wyborach do sejmu upadł we wszystkich trzech kuryach. Dla czego poseł Rutowski woli widzieć chłopa galicyjskiego leżącego w błocie i umierającego z głodu, aniżeli pozwolić, aby ten sam chłop przy ciężkiej pracy dobrze zjadł i kiedyś wrócił do kraju mądrzejszym, pracowitszym i zamożniejszym? Jesteśmy przekonani, że szanowny poseł z Tarnowa samby tego wyjaśnić nie potrafił!... Po takiem wystąpieniu w Kole polskiem Towarzystwo śgo Rafała rozwiązało się wczoraj, i oczekuje powrotu dra Kłobukowskiego, aby swoją sprawę załatwił. Jakby na dany znak, dzisiaj rano wyjechało dwudziestu agentów biura transportowego do Galicyi dla agitacyi i wywożenia ludzkiego towaru! *Xi.*

Z estrady i sceny.

Występy Kotarbińskiego.

(„Prawem miecza“. — „Otello“.)

Przed dwoma czy trzema laty pojawił się w Komedyi francuzkiej dramat Richepin'a pod tytułem „Par le glaive“. Krytyka przyjęła to dzieło autora znanego dotychczas przeważnie z powieści tylko, bardzo przychylnie. Nawet najszczerszy i najbezstronniejszy z paryzkich krytyków teatralnych, stary Sarcey, na rozpaczliwe zdobywał się wysiłki, aby wykryć możliwie wiele zalet w tym utworze, w którym upatrywano powszechnie zwrot czyli dokładniej powrót do dawnego romantyzmu. Publiczność zaś poszła w tym wypadku za głosem krytyki i zapewniła „Par le glaive“ cały szereg przedstawień. Powodzenie to tłomaczy się chyba wstrętem, jakim napełnia widzów dzisiejsza francuzka produkcya dramatyczna. Jakichkolwiek bowiem zalet najwprawniejsze nawet oko nie dopatrzy się w tem dramidle Richépina.

Tło zaczerpnięte jest z burzliwych dziejów miast włoskich przy schyłku średnich wieków. Ale historyczne wiadomości p. Richépin'a nie zdają się sięgać zbyt głęboko. Bohater sztuki, a jednocześnie władca Raveny, ma być wodzem najezdniczej hordy. Hordy barbarzyńskie nie pojawiały się już w górnych Włoszech przy końcu XIV wieku, czyli w czasie, w którym się rozgrywa akcya w „Par le glaive“. Co najwyżej może być mowa o wodzu najemników, którzy w owych czasach walczyli na żołdzie potężnych i bogatych miast północno-włoskich. Przytem figury, działające czy gadające w „Prawem miecza“, nie wykazują najmniejszych znamion ówczesnej epoki. Wybaczyć by zresztą można ten brak historycznej wierności, posiadającej w rzeczy samej w utworze poetyckim podrzędniejsze tylko znaczenie, ale autor gorzej jeszcze się obchodzi z prawdą wewnętrzną, z psychologicznym rysunkiem charakterów. Nie ma w tym dramacie ludzi, są tylko manekiny, które raz nakręcone wygłaszają nadzwyczaj długie, nadzwyczaj szumne, a przedewszystkiem nadzwyczaj nudne tyrady.

Kotarbiński wystąpił w roli najbardziej wygadanego z bardzo wygadanych bohaterów sztuki, bohaterów bowiem jest w „Prawem miecza“ cały legion. O ile też sama deklamacyjna zdolność zapewnić może powodzenie, znakomity artysta, który tym razem podjął się dość niefortunnego zadania, osięgnął cel swój w zupełności. Wygłaszane potężnym a przy tem niezrównanie pięknym organem jego tyrady, budziły wdzięczny oddźwięk w sercach słuchaczy i zdobywały mu co chwila huczne oklaski. Więcej zrobić z tej roli, natchnąć prawdziwem życiem tę figurę z tektury nie zdołałby nawet najgenialniejszy wykonawca.

Lepsze już pole do popisu nastręcza główna postać kobieca. I Rynalda nie odznacza się dokładnością psychologicznego rysunku; owszem grzeszy dość dotkliwym brakiem prawdy. Rola ta jednak posiada kilka chwil, nakreślonych z siłą, sprawiających przy należytem ich oddaniu dość wielkie wrażenie. Chwile te wyzyskała świetnie p. Paszkowska. Ale nietylko te chwile — całe pojęcie, opracowanie i przeprowadzenie roli nacechowane było niezwykłym talentem, połączonym z wielką inteligencyą. Dzięki też tej grze artystycznie wykończonej, młoda artystka wysunęła na plan pierwszy swoją rolę i skupiła około niej wyłączny prawie interes widza. Wspaniale przytem wyglądała w pięknym, stylowym włoskim kostyumie średniowiecznym.

Całość wykonania „Prawem miecza“, jeżeli pominiemy bardzo energiczną pomoc suflera, nie raziła zbytecznie. Pp. Skirmunt, jako wódz najezdniczej hordy, Jakubowski w roli intrygującego Włocha, Grabowiecki jako pretendent do raweńskiej korony i p. Ogińska, w roli chłopca, bez zarzutu wywiązali się ze swego zadania.

Tłomaczenie dramatu Richépin'a, dokonane przez p. Chamca woła o pomstę do nieba. Zdaje się człowiekowi, że jedzie po grudzie, gdy słucha tych nędznych wierszy, naszpikowanych barbarzyńskiemi, niemożliwie trywialnemi wyrazami. „Par le glaive“ odznacza się poważnemi zaletami literackiemi, — spoczywa w nich właściwie cała wartość tego dramatu — a zalety te zabiła w zupełności nieudolna ręka tłomacza.

Nie wiem, jak najtreściwiej a przytem najdosadniej scharakteryzować grę Kotarbińskiego jako Otella. W każdym razie znakomity artysta w roli tej jest innym niż Otello Rossiego, Salviniego, Maggiego i Leszczyńskiego, którego zaliczam do najlepszych współczesnych przedstawicieli szekspirowskiego murzyna. W swej interpretacyi Otella kładzie Kotarbiński główny nacisk na elementarne pierwotne instynkta, nurtujące duszę tego bohatera zazdrości. Niezawodnie, że takie pojęcie tej roli nie ze wszystkiem zadowoli zwolenników klasycznej pozy, zdobędzie sobie jednak szczery poklask u wszystkich tych, którzy i w sztuce aktorskiej szukają przedewszystkiem prawdy. Tą pierwotną bowiem niższością cywilizacyjną w porównaniu z otoczeniem tłomaczy się przedewszystkiem cały tragizm losu Otella.

Przyznaję się, że początkowo nie wzbudzała we mnie zbyt wielkiego zaufania Desdemona p. Paszkowskiej. Zdawało mi się, że energiczny temperament tej bohaterki par excellence nie potrafi się nagiąć należycie do lirycznych akcentów przeważających w tej roli. Pierwsze jednak pojawienie się na scenie wysoce uzdolnionej artystki rozwiało moje obawy. Ze zdumiewającą intuicyą wżyła się nasza bohaterka w tę na pozór obcą zupełnie sobie postać, stworzyła Desdemonę ujmującą kobiecym wdziękiem, a rozrzewniającą widza szczerością i prawdą uczucia. Szczerze powinszować można młodej artystce tej pięknej kreacyi. Na szczegółowe zaznaczenie zasługuje przy tem staranność i sumienność, z jaką ta artystka opracowuje każdą powierzoną sobie rolę. A zważyć wypada, że role te, w których występować jej przychodzi co chwila, należą po części do najobszerniejszych i najtrudniejszych w całym repertuarze dramatycznym. *A. Z.*

Na Wyłomie.

(Słówko o reklamach. — „Kuryer“ w roli gwiazdora. — Nieugięci.)

W stuleciu wyuzdanej konkurencyi i gorączkowej pogoni za chlebem zakwitło bujnie w starej Europie i nowej Ameryce rzemiosło reklamy. Rozpasana arlekinada zbrojna w szych błyskotliwy i wielkie słowa humbugu tańczy na rynkach, a tłum łatwowierny, ten wielki niewolnik pozorów, rzuca jej miedź i złoto pod nogi. Czytałem niedawno w jednem z czasopism poznańskich jakąś nowoczesną „Pieśń o ziemi naszej“, zaczynającą się od słów: A czy znasz, ty bracie młody, te kupieckie twoje rody? — inny znów dziennik warszawskiego stempla zapewnia, że 50 Armeńczyków, obleganych przez Turków w zabarykadowanym sklepie, ocaliła przed śmiercią głodową skrzynia czekolady z takiej i takiej fabryki, — wreszcie dowiedziałem się z sensacyjnego artykułu jakiegoś redakcyjnego reklamisty, że kogoś tam na muzułmańskiej ziemi osłonił piernik ukryty na piersiach przed sztyletem skrytobójcy. „A piernik ten pochodził z cukierni pana X. przy ulicy Y.“ tak kończy się oczywiście powieść reportera, ogłoszona drukiem w najpoczytniejszej rubryce redakcyjnej jednego z dzienników syreniego grodu. Literata wyparł dziennikarz, dziennikarza wypiera reporter, reportera „wzmiankarz“, — oto lament poważnego publicysty, ktory niedawno obił się o uszy moje. Ten demoralizujący wpływ reklamy ogarnia dziś wszystkie gałęzie życia społecznego, zatruwa handel, sztukę, literaturę i religię nawet, a przedewszystkiem deprawuje prasę, obniżającej jej poziom intelektualny i szerząc kult blagi i szarlatańsiwa. A nie ogranicza on się jedynie na ukrywaniu marności towaru w olbrzymiej górze kłamstw i przechwałek, lecz

sięga dalej, bierze nóż i maczugę i czyha na życie konkurencyi. Handel i handel bez końca. Ten młyn potężny zmeł na otręby honor i uczciwość, a rzuciwszy pod koła swoje majestatyczne kolosy wielkich słów i haseł rozdrobnił je na filgranowe cacka, zdobiące wystawne okna wszelakich bud towarowych, czy im na imię polityka, sztuka lub prasa. A dziś, gdy gwiazdka się zbliża, rok nowy i kwartał nowy, — papugi i sępy reklamy zrywają się w całych stadach, i dzioby ostrzą i krzyczą. Słuchajcie tylko! w prasie poznańskiej odzywa się znany głos papuzi i sępie trzepotanie skrzydeł, — znacie je wszyscy, — to „Kuryer“ sprawia „przedkwartalną“ hecę.

Przedziwną metodę posiada ten nasz rodzimy Arizona-Kicker. Przez dwa miesiące każdego kwartału brnie w prusofilstwie, plecie duby smalone o życiu społecznem, literaturze i sztuce, umorusa ręce aż po łokcie w błocie, a gdy już nabroił całe Chimborasso rozlicznych fałszów, beztaktów, kalumnii i antinarodowych operacyi, strach go ogarnia paniczny, że w nowym sezonie przerzedzi się armia abonentów i w kasie redakcyjnej nie będzie dosyć oboli, by szerzyć w dalszym ciągu kult kosmopolitycznego klerykalizmu.

Więc w trzecim miesiącu rodzi systematycznie iście króliczą obfitość wielkich, alarmujących artykułów. Trzeba przestraszyć pobożnych czytelników, zgrzytnąć im nad uchem strasznym śmiechem wiedźm Makbetowskich, trzeba wyprowadzić na scenę takie widma Antychrysta i Masoneryi z kielnią i trupią głową w ręku, że zadzwonią zębami i kryjąc się w fałdach Kuryerowej rewerendy zawołają pokornie: „Przy tobie bogobojny Panie stoimy i stać chcemy, boś ty jest kotwicą, ratującą łódź skołataną w rozhukanych bałwanach niedowiarstwa i zepsucia, ty tarczą wiary, puklerzem niewiniątek“. Takie gwiazdory straszące publiczność zjawiają się z systematyczną pedantycznością w łamach prusofilskiej bibuły, — więc nie dziw, że w chwili obecnej, gdy grudzień mrozem i śniegiem zapisał swoje „Jestem“ w naturze i przypomniał panom redaktorom, że czas już najwyższy utrwalić abonentów w miłości dla pisma, Kuryer rozpoczyna ulubioną farsę, ochrzconą dzisiaj afiszowem mianem „S z a l e ń s t w a“. Niech was nowość tytułu nie łudzi, — kubek w kubek to samo co pod koniec innych kwartałów, tylko etykieta efektowniejsza. Szaleństwa? Oczywiście! szalona opozycya, szalony każdy, kto czołem nie uderza przed bałwanem Kuryerowej polityki, szalony „ruch ludowy“, szalona „Młoda Polska“, szaleni wszyscy prócz niego, — nowego Mojżesza, który lud powiedzie tam, gdzie kończy się ojczyzna a istnieje tylko Kościół i Watykan. Szaleńcy! Oni to rzucili rękawicę Bogu samemu, oni z lontem podpalaczów czają się pod Kościół, oni u Niemców-protestantów „żebrają pokątnie poparcia i sympatyi“, oni z ołtarzy ściągają świętości i depcą je stopą brutalną, oni mordują niemowlęta, trują serca dziewicze, zagładę niosą w domy polskie, oni Masoni, syny Belzebuba i Kainów plemię. Śmierć i zgnilizna czeka u drzwi waszych, — jedyny ratunek: „Abonujcie Kuryera“!

Jeszcze nie koniec tej cudownej litanii naszego dziennikarskiego gwiazdora, — ale tchu mi już zabrakło i mróz łamie kości na samo wspomnienie tych okropnych okropności. Ktoby się to, moi państwo, spodziewał, że w naszym poczciwym i pobożnym Poznaniu takie hyeny krążą po ulicach. Jeżeli jednak krążą, to biada Kuryerowi, bo one głównie trupami się karmią.

Tak! trupem jesteś przezacny kolego i nie masz prawa przemawiać „w i m i ę c a ł e g o d u c h o w i e ń s t w a, c a ł e j r o z u m n e j i u c z c i w e j i n t e l i g e n c y i, c a ł e g o w i e r z ą c e g o m i e s z c z a ń s t w a i b o g o b o j n e g o l u d u“, — jeżeli zaś twój dzwon pożarny i twoje pięcie się do wyżyn przedstawicielstwa narodowej cnoty i narodowego rozumu jest sztuczką kramarską, to wiedz, że dobry spekulant stara się o rozmaitość reklamy, bo jednostajność humbugu nuży publiczność i paraliżuje „business“. *Toujours le même*! To dobre w miłosnych listach i miłosnych pieszczotach, — a i tu nie zawsze — lecz gdy o jarmark, targ i handel chodzi, to bez fantazyi niema interesu.

Metoda kupiecka nie polega bynajmniej na nieskończonem bisowaniu jednej i tej samej piosenki, lecz przeciwnie siła jej tkwi w bezustannej nowości i zmianie wabików reklamowych. I dla tego uznaję wprawdzie w kolegach naszych z Kuryera znakomity materyał na Blagieradzkich, lecz rutyny i mistrzostwa przyznać im nie mogę. Rozumiem także ten dziwny strach, który objawia się z dnia na dzień wyraźniej w stronnictwie „ładu i porządku“ wobec grupy młodopolskiej opozycyi, ale nie lękam się bynajmniej tych furyi z żmijami we włosach, które Kuryer przeciw nam wypuszcza, a które, jeżeli można wierzyć zapewnieniom jego, gotuje także „władza duchowna jako taka“, aby kres położyć „roznamiętnionej swawoli“.(!) Stronnictwo nasze, które ktoś nazwał „stronnictwem zdrowego krytycyzmu, pokrewnem czeskim realistom ze szkoły Masaryka“, nie kurczy się pod kopytami rozmaitych Kuryerowiczów, lecz rośnie i potężnieje z dnia na dzień. Rozwój nasz oczywiście nie odbywa się w galopowem tempie i długo jeszcze na zachwaszczonej ziemi sterczyć będą powagi „ładu i porządku“ jako mur obronny dla wszelkiej miernoty, blagi, oziębłości i politycznej ślepoty, długo jeszcze syk jadowity razić będzie uszy nasze „gdy pośród tłumu błyśnie w ogniach twarz człowieka“, długo jeszcze karły i pigmeje wspinać się będą na palce a lud uwierzy, że olbrzymów widzi. Lecz jutro, — jutro do nas należy! Tą wiarą silni, mimo klątw i pogróżek waszych, mimo atmosfery i fauny bagniskowej, naprzód pójdziemy z spokojem ostrzelanych żołnierzy, zapałem serc niewystudzonych i brawurą Heinowskiego typu. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA

* **Nowe pismo.** — Krakowski Związek literacki będzie wydawał od dnia 1 stycznia 1896 roku miesięcznik p. t. „P r z e g l ą d l i t e r a c k i“. Pismo to będzie miało na celu uczynić zadość oddawna uznanej potrzebie organu, który z jednej strony byłby ogniskiem życia literackiego, z drugiej łącznikiem między literatami a czytającą publicznością; pierwszym ma ułatwić wzajemne stosunki, drugiej oryentowania się pośród najróżnorodniejszych publikacyi i poznanie prądów literackich i ruchu naukowego tak w literaturze polskiej jak i ogólno-europejskiej. W tym celu będzie „Przegląd“ zawierał: I. Artykuły literackie, dające pogląd na rozwój literatury polskiej i obcej, ze szczególnem uwzględnieniem literatur słowiańskich; II. Treściwe sprawozdania z nowych publikacyi, z krótką, bezstronną oceną; III. Sprawozdania z wybitniejszych utworów dramatycznych, przedstawianych na scenach polskich; VI. Wiadomości ze świata literackiego i dziennikarskiego; V. Bibliografię literacką czasopism i dzienników; VI. Rozmaitości literackie; VII. Odpowiedzi na zapytania w kwestyach literackich.

W skład komitetu redakcyjnego „Przeglądu literackiego“ wchodzą: Kazimierz Bartoszewicz, X. Dr. Jan Fijałek, L. Glatman (Ludomir), Dr. Feliks Koneczny, J. Kotarbiński, Ignacy Maciejowski (Sewer), Michał hr. Rostworowski, Dr. Józef Tretiak, prof. Roman Zawiliński i Dr. Maryan Zdziechowski.

Przedpłata „Przeglądu“ wynosić będzie rocznie 3 złr., półrocznie 1 złr. 50 ct. — Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, ulica Szewska L. 27.

Redakcya „Przeglądu literackiego“ zwraca się z prośbą do Redakcyi wszystkich czasopism polskich oraz do wszystkich pp. autorów, wydawców i księgarzy, aby jej jeszcze przed 10 grudnia wydawnictwa swe nadesłać raczyli, jeżeli pragną znaleść z nich sprawozdania w numerze 1 „Przeglądu“ z dnia 1 stycznia 1895 roku.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Fundusz towarzystwa dziennikarzy polskich we Lwowie wynosi już 10.000 złr. Uniwersytet w Zagrzebiu dopuścił na wydział filozoficzny cztery kobiety w charakterze wolnych słuchaczek. — Wydawca berliński Lemke przygotowuje do druku obszerne dzieło dotyczące życia i zasług naukowych Kopernika. W zimi odbędą się w Warszawie odczyty popularne przeznaczone na wydawnictwo broszurek dla ludu. Udział wezmą między innemi A. Dygasiński, M. Heilpern, Klemens Szaniawski (Junosza) Edmund Lemkowski, dr. Bujwid. — Między dwoma miastami Brighton i Rottingding, położonemi na południowem wybrzeżu Anglii, ma być przeprowadzona linia kolei żelaznej, którą możnaby nazwać podmorską. Linię tę wytknięto już w samem morzu, równolegle z brzegiem; szyny układają się na torze, utworzonym ze skał, które w czasie przypływu morza pokrywają się wodą na wysokości 2 sążni. Nowa droga buduje się w celu leczniczym: mianowicie przy jej pomocy mają tam leczyć suchotników wodą i powietrzem morskiem. — Prof. Dr. B. Wicherkiewicz z Poznania mianowany został profesorem Wszechnicy Jagiellońskiej na katedrze okulistyki.

Teatr i muzyka. Paryski „teatr poetów“ w sezonie wiosennym ma wystawić Lille Wenede. — J. Śliwiński wyjeżdża na koncerty do Ameryki. — W Warszawie rozpoczęto próby z farsy Andrzeja hr. Fredry (wnuka) p. t. „Stowarzyszenie kobiet wyższych“ — Lamoureux tworzy w Paryżu „Teatr Wagnera“ na wzór Baireutu. — Jan Strauss wystawia w Wiedniu operetkę pt. „Waldmeister“. — Wielkie powodzenie miał w Monachium dramat Hermana Haasa pt. „Pram“. — Dwunastoletni Eugenii Rodriguez wystawił w Madrycie komedyę pt. „Maria“. — P a n i Ż i m a j e r o w a, obecnie stale angażowana w Carlteatrze wiedeńskim, zdobyła sobie przez dwa miesiące swoich występów całą sympatyę prasy i publiczności, Przez dwa miesiące grała dzień w dzień operetkę Suppego „Model“. Obecnie po „Modelu“ nastąpił wodewil francuski p. t. „Maison Tamponin“, w którym p. Zimajerowa gra główną rolę. Zrobiła ona w niej prawdziwą furorę i wysunęła się na pierwszy plan nawet w obec tak świetnego i lubianego w Wiedniu komika jak Tenele. Wszystkie dzienniki bez wyjątku poświęcają naszej artystce słowa gorącego uznania. Wiener Allg. Ztg. stawia ją na równi z Judic i Gallmeyerową.

Zmarli:

A l e k s a n d e r D u m a s ur. 1824 r. — głośny autor komedyi, powieści i dramatów, członek akademii francuskiej.

S t a n i s ł a w B u d z y ń s k i, były profesor szkoły Głównej a potem uniwersytetu warszawskiego, tłomacz i autor dzieł i rozpraw z zakresu prawa a zwłaszcza kryminalistyki. — Tłomaczył również utwory poetyckie (Kalderona, Oehlenschlägera, Lermontowa). — Umarł mając lat 71.

Odpowiedzi Redakcyi.

J e d e n z a w i e l u. Pan K. Bartoszewicz jest równocześnie współpracownikiem naszym i „Kraju“ petersburskiego. — Artykułów p. E. P. nie zamieszczaliśmy nigdy w „Przeglądzie Poznańskim“. Bliższych wyjaśnień udzielimy listownie, jeżeli panowie uchylą anonim.

G. J a ź w i u. Oj! „podlotku“, nam się wydaje że ty już granice Jezusowych latek dawno przekroczyłeś. To też polecamy ci bez obawy o pensyonarskie rączki i karzącą rękę mamy-dobrodziejki czytanie wszystkich artykułów naszych, lecz czytaj je uważnie i czytaj z tą świadomością, że poważny artykuł naukowy liczyć się nie może z postulatami konwenansu salonowego i figowemi listkami flirtu.

Sprostowanie.

Do rubryki petitowej „Teatr i muzyka“ zamieszczonej w ubiegłym numerze, wkradła się następująca omyłka: Zamiast: w „Warszawie odegrano z ś w i e t n e m p o w o d z e n i e m sztukę A. Konara „Gąsienice“, — czytać należy: Z ś r e d n i e m p o w o d z e n i e m.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 50. Poznań, niedziela 15-go grudnia 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański"
wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen

Treść:

W sprawie „Banku ziemskiego".

Jeden z korespondentów naszych, fachowy ekonomista i prawnik z zawodu, wykazał w poprzednim numerze z wielkim zasobem ścisłej logiki i trzeźwej argumentacyi, że hasła, któremi prasa poznańska reklamuje nową emisyę „Banku ziemskiego", grzeszą często przesadą, a plan pewnego projektowicza, by fundusz Kościuszkowski obrócić na zakupno akcyi, sprzeciwia się intencyi składkujących i z względów formalnych napotyka poważne trudności. Godząc się w zasadzie na zarzuty korespondenta naszego, poczuwamy się jednak — dla uniknięcia fałszywych komentarzy — do obowiązku nadmienić tu wyraźnie, że samą instytucyę Banku ziemskiego uważamy w stosunkach naszych za siłę o znaczeniu pierwszorzędnem w kierunku narodowym, społecznym i ekonomicznym. Znakomity artykuł *dr. Witolda Skarżyńskiego*, zamieszczony w „Dzienniku Poznańskim" (Nr. 277) określił z uznania godną trzeźwością doniosłość działalności bankowej na różnych stopniach życia naszego i przyczyny wyraźnej nieufności, prześladującej rozwój tej instytucyi od samych początków istnienia. Zwracając uwagę na powyższą pracą, podyktowaną przez jeden z najszerszych i najgłębszych umysłów zaboru pruskiego, pragniemy raz jeszcze, śladem korespondanta naszego, zanotować, że reklamy dzienników poznańskich, zalecające akcye Banku ziemskiego jako pewną lokacyę kapitałów i rozpatrujące kwestyę ze stanowiska indywidualnej spekulacyi finasowej, piętnem widocznej przesady swojej budzą nieufność i sprawie publicznej raczej szkodę, niż korzyść przynieść tylko mogą. Fałszywe blaski na bok! Akcye Banku ziemskiego w obecnej formie, wobec braku kursu giełdowego i niepewności zysków bankowych, nie stanowią bynajmniej idealnej, a choćby tylko względnie korzystnej lokacyi kapitałów. Są one bądź co bądź uwięzieniem sum deponowanych i z tego powodu czynnika o f i a r n o ś c i z kwestyi nowej emisyi wykluczyć niepodobna. Po rozstrzygnięciu tej wątpliwości i obniżeniu reklam dziennikarskich do właściwej miary należałoby zatem postawić pytanie, czy ofiarność w tym wypadku jest aktem racyonalnym i postulatem prawdziwie obywatelskim. Że w naszych warunkach odpowiedź na takie zagadnienie może być tylko twierdzącą, o tem świadczy wymownie wyżej wzmiankowana praca dr. Witolda Skarżyńskiego i świeższej daty kompilacya dr. Tadeusza Szułdrzyńskiego. Odsyłając czytelników naszych do obu tych autorów, oszczędzamy sobie trudu rekapitulowania tych wszystkich motywów, które z jednej strony podnoszą Bank ziemski do pierwszorzędnego znaczenia w walce o byt narodowy, z drugiej strony, nie tając egzystencyi stron ciemnych i błędów, oddają kierownictwu wotum zaufania, oparte na cyfrach statystycznych i zaszczytnem uznaniu obcych ekonomistów. Z naszej strony pragniemy tylko z całym naciskiem zwrócić uwagę na spotęgowaną doniosłość banku w tej właśnie chwili, gdy minująca robota Hakatystów powołała do życia drugą edycyę komisyi kolonizacyjnej, drugą instytucyę finansową, połykającą majątki polskie i przetrawiającą zdobycz swoją w formie patentowanych parceli niemieckich. Zresztą inteligencya zszeregowana koło pisma naszego wita w Banku ziemskim nową sprężynę tych przeobrażeń demokratycznych, które z nieubłaganą konsekwencyą dokonują się w społeczeństwie poznańskiem. Panowanie wielkiej posiadłości ziemskiej chyli się ku schyłkowi i czas najwyższy, aby na odmiennym fundamencie oprzeć własność agrarną i w miejsce ustępującego stanu ziemian wielomorgowych wprowadzić polskich rolników drobnowłasnościowych. Im prędzej, im wszechstronniej ten proces parcelacyjny się spełni, tem korzystniej dla społeczeństwa polskiego, a skoro rząd niemiecki i związek Hansemanów usiłują spaczyć w narodowym kierunku naturalny rozwój ekonomicznej metamorfozy, więc czas najwyższy, aby dążeniom germanizacyjnym przeciwstawić wał ochronny z polską chorągwią. Ten z natury Banku ziemskiego wypływający prąd demokratyczny nadwyrężył popularność jego w kołach wielkich właścicieli ziemskich, bo sfery te zrazu przypisywały mu misyę ratunkową dla zagrożonych latifundyów, a później, gdy zrozumiały społeczno-ekonomiczne rezultaty działalności bankowej, nie mogły się pogodzić z myślą wielkiego przewrotu, któremu instytucya parcelacyjna drogę torowała. My jednak, którzy przeobrażenie agrarne uważamy za konieczny postulat stosunków europejskich i nadto w przeobrażeniu tem nie upatrujemy jakiegoś „malum necessarium" lecz wręcz szeroką i zdrową podstawę nowego życia narodowego, właśnie w demokratycznej misyi Banku ziemskiego znajdujemy energiczną pobudkę do otoczenia tej instytucyi czynną i ofiarną opieką.

Jeżeli atoli uznajemy w całej pełni doniosłość zadań parcelacyjnych, którym służy Bank ziemski, to z drugiej strony w imię tej samej zasady pragnęlibyśmy po całym kraju rozgałęzić instytucye ku równym celom zwrócone, a podnosimy to z szczególnym naciskiem z tego powodu, by założyć protest przeciw jawnym i ukrytym dążeniom,ześrodkowania całej akcyi drobnowłasnościowej w banku poznańskim. Ten kierunek dośrodkowy przejawia się nietylko w ekonomiczym działaniu naszem, lecz panoszy się we wszystkich dziedzinach życia społecznego, choć nie wszędzie poszczycić się może dodatniemi rezultatami, a sprawie parcelacyi, zdaniem naszem, poniekąd ujemne oddaje usługi. Liczba parcelujących przedsiębiorców, mianowicie żydowskiej narodowości, mnoży się dzisiaj z dniem każdym w przeróżnych punktach zaboru pruskiego, a spełniają oni ze względu na większą znajomość stosunków lokalnych łatwiej zwykle i korzystniej zadanie swoje niż centralne biuro metropolii poznańskiej. To też niechęć objawiającą się tu i owdzie przeciw zakładaniu spółek parcelacyjnych w różnych stronach prowincyi naszej uważamy za niesłuszną i z radością witamy centryfugalne siły, wprowadzające w miejsce parcelujących Cohnów i Müllerów energicznych przedsiębiorców polskich. Bank ziemski takiej tendencyi żadną miarą paraliżować nie powinien, lecz przeciwnie działalność jego tem doniośljszemi szczycić się będzie rezultatami, jeżeli kapitałem swoim i doświadczeniem wspierać zacznie szczerze i energicznie bratnie instytucye. Odegrać rolę „uczciwego maklera" wobec innych towarzystw parcelacyjnych o narodowym kierunku, — ułatwić spółkom pokrewnym nabywanie i rozdrabnianie ziemi, — budzić do życia prądy parcelacyjne i torować im drogę bez względu na zawisłość sił odśrodkowych w stosunku do głównej instytucyi poznańskiej, — oto hasło, które Bank ziemski powinien sobie przyswoić i w duchu jego pracować. W życiu naszem społeczno-narodowem przejawia się coraz częściej potępianie osobistej inicyatywy i sprowadzanie wszystkiego do jakichś centr

przywłaszczających sobie monopol sankcyonowania każdej akcyi publicznej i to staje się nieraz powodem zacieśnienia rozwoju i przyczyną żółwiego ruchu. A tymczasem cudze żywioły krążą po kraju i zjadają śmietanę, której Polak zebrać nie zdążył, lub zebrać się nie ośmielił. Więc zamiast potępiać te siły centryfugalne, którym okazujemy nieufność, a nawet niechęć widoczną, witajmy w nich ruch i życie. Im więcej ognisk czynu tem więcej ludzi przy nich się ogrzeje.



Przegląd prasy polskiej.

W obec krytyki prasy poznańskiej, zamieszczonej w „Przewodniku Katolickim“. i „Kuryerze Poznańskim“, — oraz wobec przeróżnych reklam dla jednych, gromów dla drugich czasopism, padających przy końcu kwartału z ambon kościelnych, zamieścił „Orędownik“ (nr. 283) obszerny artykuł p. t. „Sprawa niemało drażliwa“. Końcowy ustęp artykułu tego brzmi:

„Sytuacya układa się tak: na czele wydawnictw „Kuryera“ i „Przewodnika Katolickiego“ stoi jeden i ten sam kanonik poznańskiej kapituły. W pierwszem piśmie wzywają księży, żeby z ambon polecali „Przewodnika katolickiego“, także ze względu na inną prasę polską, i w tem samem piśmie orzekają, że prasa polska to — polityczna Sodoma i Gomora. Pozostańmy przy formalnej stronie. Przeciw komu ma być ambona w danym razie użyta? Ambona zwrócić się może łatwo, a kto wie czy się nie będzie **musiała** zwrócić przeciw wszystkim pismom **samodzielnym, niezależnym**. Przeciw jednym może więcej, przeciw drugim mniej, ale wszystkie samodzielne pisma mogą być pod jednę rubrykę podciągnięte. To będzie nieuniknione następstwo, bo tak się układa formalna strona tej drażliwej sprawy“.

* * *

P. Ant. Donimirski zamieścił w „Kraju“ petersburskim artykuł charakteryzujący cyfrowo dotychczasową działalność Komisyi kolonizacyjnej i wyprowadzający uzasadnione wnioski, że stan finansowy tej Bismarkowskiej instytucyi jest arcyniepomyślnym a charakter jej zmienia się o tyle, że w ostatnich latach fundusz stumilionowy przedzierzgnął się poniekąd w kapitał ratunkowy dla **niemieckiej** własności ziemskiej. Końcowy ustęp ciekawej pracy p. Donimirskiego brzmi:

„Według tych rachunków, niewątpliwie nie przesadzimy, jeżeli stratę, jaką komisya ponosi na każdym hektarze rozkolonizowanej ziemi, obliczymy najmniej na 150 marek, tak, iż stratę na rozkolonizowanych lub wydzierżawionych dotychczas 28,755 hektarach śmiało przyjąć możemy na 4,313,250 marek; w rzeczywistości jest ona znacznie większa.

Czyż przynajmniej kolonistom wygodną za to zapewniono egzystencyę? Niebardzo o tem świadczą liczne stosunkowo zmiany własności. Na 1,606 wytworzonych dotychczas przez komisyą kolonizacyjną w r. 1894 niemniej jak 25 zmieniło właścicieli, z tego tylko 5 pozostało w rodzinie, przechodząc na syna lub zięcia; niektóre kolonije już po kilkakrotnie zmieniły właścicieli.

Straty komisyi zwiększają się z roku na rok, w miarę wzrastania jej posiadłości. Według wykazów rachunkowych, komisya dotychczas gotówką z 100-milionowego funduszu wydała $64^1/_2$ mil. marek; zaś wróciło jej się tylko $5^1/_2$ mil. marek, tak, iż do końca roku 1894 umieszczonych miała około 59 mil. marek, a do dyspozycyi zatrzymała około 41 mil. m“.

* * *

W obec wieści podanej przez pisma niemieckie, że istnieje polski fundusz agitacyjny na Górnym Szlązku, takie wypowiadają zdanie „Nowiny Raciborskie“ w nr. 147:

„Gdyby na przeprowadzenie obrony wiary, języka, narodowości istniał na Górnym Szlązku osobny fundusz, byłoby to rzeczą bardzo pożądaną i pożyteczną i dobrą, a nigdy nie byłoby to rzeczą złą, na tej samej podstawie, na jakiej Niemcom nie wydaje się rzeczą złą łączyć się w stowarzyszenia, zbierać składki, ustanawiać fundusze milionowe, wykupywać ziemię z rąk polskich itd. na obronę niemieckości w Poznańskiem, na Szlązku, w Prusach Zachodnich. Dla wszystkich obywateli jednego państwa istnieć winna równa miara i jednaki wymiar sprawiedliwości. Gdyby urojony fundusz, ustanowiony dla obrony polskości w państwie niemieckiem, był rzeczą naganną, nagannym również byłby fundusz na rozkrzewianie niemieckości: „Co tobie niemiło, tego drugiemu nie czyń“.

Ale czyż istnieje fundusz polski na przeprowadzenie obrony polskości na Górnym Szlązku? Chociażbyśmy się na wszystkie świętości zaklinali, że fundusz taki nie istnieje, przeciwnicy nie uwierzą. Nie widzą oni czy nie chcą widzieć, że społeczeństwo wielkopolskie jest tak znękane i ma tyle własnych potrzeb, iż nawet myśleć nie może o ustanowieniu funduszów na rzecz obcych prowincyi; szczęście, że ono jeszcze o sobie myśli. Przeciwnicy mimo to będą utrzymywać i wołać w niebogłosy, że fundusz istnieje, bo im z tem bardzo dogodnie: mają czem straszyć siebie samych i ludzi łatwowiernych. Tego wymagały też ostatnie wybory, więc słyszeliśmy, jak powtarzano zachrypłymi głosy: Fundusz wielkopolski został zasilony, jest obecnie bardzo obfity i t. d. A fundusz taki — powtarzamy — nie istnieje!“

W dalszym ciągu artykułu tego zbijają „Nowiny raciborskie“ inne zarzuty fabrykowane w kuźniach niemieckich przeciw stróżom praw narodowych na Górnym Szlązku. Z wywodów „Nowin“ podajemy ustęp następujący:

„Zdawałoby się, że zarzut uczyniony redaktorom polskim, iż piszą tylko dla zarabiania pieniędzy, czyli grzeczniej mówiąc, dla zaspokajania niezbędnych potrzeb życiowych, tak błahy, nędzny i bezrozumny, chyba u nikogo nie znajdzie wiary, — a jednak zarzut ten jest rozpowszechniony. Im mniej się go używa w pismach publicznych, nie pozbawionych jeszcze ostatniego odcienia wstydu, tem więcej powtarza się go prywatnie, ustnie wobec ludzi prostych nie zagłębiających się nad istotą prawdy i nie sprawdzających trafności potwarzy. Na zohydzenie ludzi uczciwie pracujących mówią nasi przeciwnicy do nas samych mniej więcej tak: Po co tu przyszli ci Poznańczycy? Wyciągnąć wam pieniądze z kabzy! Pokażcie im drzwi! Niestety, potwarz taka w wielu razach nie zawodzi, bo lud, jak już powiedziałem, nie ma możności lub nie zadaje sobie pracy, by się przekonać, że jest niesłuszna z gruntu. Gdyby ten lud był obyty w szermierce języka, odwróciłby miecz i zapytał: „Po co tu przyszli ludzie z nad Renu, z Westfalii, z Saksonii? Czyśmy ich wołali? Nie! A więc wyciągają nam pieniądze z kieszeni. A czy tylko z kieszeni? O nie, wydobywają je oni z naszej ziemi pod postacią kruszców, wapna, węgli, zboża, a wydobywają je naszemi rękami i naszym potem. Poznańczycy, przeciwnie, to nasi bracia rodzeni, krew z krwi naszej, kość z kości; podali nam rękę jak braciom, a my uchwyciliśmy tę rękę, bośmy czuli potrzebę podpory“.

* * *

Jak smutne rezultaty wydaje obecny system pedagogiczny w szkołach ludowych pruskiego zaboru, o tem prasa poznańska nieraz dziwne podaje szczegóły. Listy pisywane przez młode pokolenie, — nieszczęśliwą ofiarą pedagogii niemieckiej, — do rodziców, krewnych i znajomych kreślone są językiem tak dziwacznym, że nikt go zrozumieć nie może. Nie jest on ani polskim, ani niemieckim, lecz jakąś pokręconą mięszaniną, zrozumiałą chyba dla samego autora, — jakimś dziwolągiem rzucającym jaskrawe światło na wartość naszych szkół ludowych. Z całego tłumu takich dokumentów, podawanych bezustannie przez prasę

Ksiądz Piotr.

Szkic

przez **Kazimierza Tetmajera**.

(Rzecz, nagrodzona pierwszą nagrodą na konkursie literackim „Czasu“.)

(Ciąg dalszy).

Bez pana Dzięgielewskiego nie mógł się staruszek kilka godzin obejść. Ów zaś pan Dzięgielewski z drobnej zagonowej, żmudzkiej czy litewskiej szlachty, przywędrował jeszcze z ojcem nieboszczykiem Kacprem Dzięgielewskim, herbu Ozorya, z Litwy i znalazł był przytułek w kłonickim dworze. Zrazu pomagał dworskiemu pisarzowi w rachunkach, ale że do cyfr głowę miał nieosobliwą, a na flecie pięknie grywał, poświęcił się kunsztowi organistowskiemu i taką z miechów czułość wydobywać umiał, aż się pannie Krystynie Kolasikiewiczównie, pokojowej pani marszałkowej, mdło zrobiło podczas sumy i ostatecznie została panią organiściną, a razem ze stanu mieszczańskiego do godności szlacheckiej podniesioną.

Z panem Dzięgielewskim toczył ksiądz Piotr dysputy o wszystkiem, zacząwszy od owsa i polityki, kończąc na astronomii i motylicy. Droczył się z nim i trafiał w jego szaraczkową godność szlachecką, przekręcając mu Ozoryę na cykoryę, co się co najmniej od lat trzydziestu zawsze z jednakowym skutkiem powtarzało.

Pan Dzięgielewski nosił na codzień czarny halsztuk na szyi, długi tabaczkowy surdut, kamizelkę w centki i pasiaste spodnie, na niedzielę zaś i święta, imieniny papieża i księdza kanonika halsztuk z ciemnego granatu, nowy surdut tabaczkowy i nowe pasiaste spodnie. Miał pan Dzięgielewski czapkę z daszkiem, chustki do nosa czerwone z brązowemi kółkami, rogową tabakierę, trzcinę z posrebrzaną gałką i mosiężną pieczątkę z herbem.

Ksiądz Piotr lubił go bardzo.

Koło plebanii było jak w arce Noego. Oprócz zwykłych, domowych zwierząt, miał ksiądz Piotr mały zwierzyniec, w którym sarny, zające i osobliwsze zamorskie gęsi żyły w bezprzykładnej zgodzie. Dozór nad tą menażeryą, jak i nad ogrodem, miały sobie powierzony wszelakie baby i dziady, oraz kaleki i sieroty, jakie się w okolicy udało znaleźć. Ksiądz Piotr zbierał biedactwo, przygarniał, odchowywał i wychowywał. Potrzebując dla siebie niewiele, bo go głównie piękne buty i rewerendy, do czego miał zawsze słabość, kosztowały, a mając i z parafii i z kapitałów własnych znaczne dochody, całe legiony ubogich żywił i odziewał.

„Mój sąsiad, — mawiał — ksiądz Wajdzik, kiedy kościół w Nowosiółku odnawiali, bronił malarzom po rusztowaniach chodzić, bo mógł który w okno wpaść, a szyby drogo kosztują; grosz do grosza zbija, psu na omastę nie da, żeby po jego śmierci chłopi blachą kościół pokryli i nową wystawili dzwonnicę; a ja mówię, że ja lepiej robię. Bo Pan Bóg o blachy na kościele nie dba, tylko o to, jakie się dusze w tym kościele modlą, a czy mu się dzwon wyżej czy też niżej lipy majda, to Mu także wszystko jedno, byle Mu serca ludzkie ku niebu dźwigał. U mnie by się też to i owo na kościele dało naprawić, ale mnie pierwsza sieroca gęba, niż dziura w gontach kościelnych“.

Miał ksiądz Piotr duży ogród cienisty w którym wiele drzew, dziś już wyrosłych, własną jeszcze ręką sadził. Na owocach znał się wybornie, hodował je na prezenta dla kolatora i sąsiadów, a kwiatów było u niego w bród. Kiedy się koło nich krzątał, zawsze z niemi rozmawiał. Jedne chwalił, drugie zrzędził, nad innemi się litował. Trzeba było słuchać.— „Uu, takeś to wybujał, narcyzku, ażoś się złamał, widzisz. Poczekajże to cię podeprę. Tak. Teraz ci się będzie lepiej rosło. Trzymajże się dobrze, tak. A ten słonecznik, łobuz, jak się rozpanoszył! Myślałby kto, że Bóg wie co! Jaki tulipan zamorski albo ananas! Ty zaś czego się tu spinasz, powoju jeden

poznańską, cytujemy z „Wielkopolanina“ list następujący, — list polskiego dziecka, kształconego w obecnej szkole ludowej:

„Bobelniz dmia 10 listopoti kochano Matko i ofcie (ojcze) Nuch (niech) bymdziu itd. — pizsi dwaigio lizsch Püwzyi PomoziKo PoPolsKai drugie Kohacnau Matcka Kochomi ojzioi m i Gnwihzsi uma m n i fochizst PitaRihug Mimi i zsch żeb je Z Ji K Riwaimo ehckouram bo pwoże i od Pizejemi nah Riwenzi“.

List kończy się temi słowy:

„Mili zer dizmi zerdinne da boże amen.“

Konia z rzędem temu, kto te zagadki rozwiąże!

* * *

P. t. „Nowa instancya w sprawie emigracyjnej“ donosi „Kuryer lwowski“:

„Od kilku dni oblegani jesteśmy przez włościan udających się do Brazylii. Wszyscy oni oświadczają, że posprzedawali swe grunta i chałupy, ponabywali karty okrętowe, pozaopatrywali się w rozmaite dokumenta, wielu z nich jedzie wskutek wezwania znajomych lub krewnych osiadłych w Brazylii (np. cała partya z pow. żółkiewskiego udająca się do Rio Claro) — i wszyscy zgodnie oświadczają, że starostwa nie chcą im wydawać paszportów. Ulokowani na stacyach żandarmi odpychają emigrantów od kas kolejowych, nie pozwalają im kupować biletów ani wsiadać do wagonów; w ten sposób całe tłumy ludzi z kobietami i dziećmi całymi dniami przesiadują na mrozie obok stacyj kolejowych — o takim fakcie donoszą nam właśnie z Jeziernej.

Lecz co rzecz najbardziej zajmująca i charakterystyczna. Włościanie przybywający do Lwowa i chcący się w tej sprawie udać do namiestnictwa czy to do samego namiestnika na posłuchanie, czy to do któregø z radzców namiestnictwa z prośbą o pomoc i poradę, spotykają przeszkodę żadnemi ustawami nieprzewidzianą i w żadnym kraju cywilizowanym, nie wyłączając i Rosyi, niepraktykowaną: oto portyer namiestnictwa zatrzymuje tych ludzi i zabrania im wstępu do gmachu namiestnictwa, ośmielając się sam od swej ugalonowanej osoby dawać im naukę i oświadczając kategorycznie, że tutaj nie mają czego szukać, a co do paszportów, to starostwa wiedzą co mają robić.

Podajemy ten fakt do wiadomości JE. ks. namiestnika, który zapewne nie wie o tem, w jaki sposób fagasy nadużywają powagi urzedu, który dotychczas szczycił się tem, że nie odpychano od jego progów nikogo, kto się tam zwracał z zaufaniem“.

* * *

Lwowskie „Czasopismo akademickie“ skarży się gorzko, że „Komitet obywatelski“ miasta Lwowa, złożony przeważnie z uczestników powstania 1863 r. odsunął młodzież akademicką od współdziałania w urządzaniu obchodów narodowych a mianowicie uroczystości listopadowej. Dotychczas Komitet Obywatelski i młodzież zgodnie w tym kierunku pracowała, w ostatnich czasach jednak korporacya uczestników styczniowej rewolucyi, przestraszona argumentami stronnictwa konserwatywnego, że nie należy zaprawiać młodych do „przedwczesnego politykowania“, odmówiła przedstawicielowi młodzieży prawa przemawiania na obchodach publicznych, a następnie przestała wogóle wzywać młodzieży do udziału w obradach komitetu. Końcowy ustęp artykułu „Czasopisma akademickiego“ brzmi:

„Młodzież podjęła wyzwanie, oswoiła się już z myślą swej zupełnej samoitności wobec Komitetu obywatelskiego i z samoistności tej potrafi zrobić najlepszy użytek, na jaki ją stać. Na razie bez wątpienia sympatye społeczeństwa staną po stronie przeciwnej, po stronie tych, którzy „szli na armaty wówczas, gdy myśmy prześcieradła gryźli“. Ale kiedyś, gdy uczestników powstania z r. 1863 będzie tyle, ile dziś jest uczestników powstania listopadowego, zmienią się może role. Wtedy społeczeństwo i opinia publiczna przestaną może wyrzucać dzisiejszej młodzieży, że nie szanuje starszych i łamie solidarność narodową, a zwrócą się do ostatnich przedstawicieli Komitetu obywatelskiego i zapytają ich przed trybunałem dziejów: Co uczyniliście z waszej strony, aby ideałów waszych nie zabrać ze sobą do grobu, ale zapewnić im nowych obrońców wtedy, gdy was nie stanie? Co uczyniliście z waszej strony, aby tę młodzież, której najzdolniejsze jednostki zabiera corocznie stronnictwo konserwatywne, najszlachetniejsze socyalizm, a najpracowitsze biurokracya, — ażeby tę młodzież skupić około sztandaru narodowego i zahartować ją przeciw pokusom karyery i argumentom doktrynerów?

Na to pytanie nie będzie chyba odpowiedzi“.



BADANIA NAUKOWE.

Złudzenia doktrynerów.

Dały się słyszeć w ostatnich czasach szczególnego rodzaju zdania, że cywilizacya dzisiejsza. w przeciwstawieniu do epoki barbarzyńskiej, jaka ją poprzedziła, jest pewnem zboczeniem patologicznem, że czasy barbarzyństwa lepsze były od dzisiejszych, że ludzkość stała wówczas wyżej społecznie niż dzisiaj itd. Dlaczego? Dlatego, że wszyscy byli wtedy wolni i równi, tak mężczyźni jak i kobiety, że własność była wspólną, że nie było nędzarzy, ani więzień, ani policyi, że, jednem słowem, było tak dobrze, jak nie mogło być lepiej. Gdy tymczasem podstawą cywilizacyi, wyłonionej z onego doskonałego ustroju, jest wyzysk jednej klasy przez drugą, a treścią jej — ustawiczne walki klasowe. Egoizm, chciwość, grabież cudzego mienia, gwałt, zdrada, morderstwo — oto cechy dzisiejszego ustroju, cywilizacyi dzisiejszej. Dodajmy do tego jeszcze, że kobieta w ustroju tym jest niewolnicą mężczyzny, własnością męża i że prostytucya i cudzołóstwo są zjawiskami koniecznemi. Cywilizacya zatem w porównaniu z barbarzyństwem jest degradacyą ewolucyjną w życiu społecznem.[1])

Dlaczego jednak ludzkość wyrwała się z owej formy społecznej, w której było jej tak dobrze i rzuciła się w objęcia wręcz przeciwnego ustroju, dla czego mężczyzna, drugorzędne zajmujący stanowisko w ustroju rodowym, wyłamał się ‹z pod przewagi kobiety i upoddanił ją z kolei sobie? Dla tego oczywiście, że zmieniły się warunki ekonomiczne ówczesnych społeczeństw, determinujące wspólność rodową mienia, że wzrosły siły wytwórcze i rozszerzyły ograniczone gospodarstwo pierwotne. Za ciasno było rozwijającym się grupom społecznym w granicach rodu, ród nie mógł objąć wszystkich sił wytwórczych, jakie w nich wyrosły, musiał się więc rozpaść, jak rozpada się każda forma, gdy zawartej w niej treści przestaje odpowiadać, gdy do ostatecznego swego dochodzi rozwoju.

Stopień wytwórczości organizmu warunkuje formę jego zewnętrzną tak w świecie biologicznym, jak i społecznym. W ustroju społecznym stopień ten zależy od rozwoju umysłowości, od wzrostu stosunków człowieka z naturą. Wszystkie wielkie wynalazki: sposób otrzymywania ognia, łuk, garncarstwo, siew zboża, topienie rudy żelaznej, proch, busola, druk, soczewka, tkactwo, zastosowanie siły pary, elektryczności i t. d., przekształcająco wpływały na życie społe-

[1]) Fr. Engels. Der Ursprung der Familie des Privateigenthums und des Staates, Zürich 1884. — Przekład polski: Początki cywilizacyi, Paryż 1885.

Patrzcie! Będzie na płot lazł! Jak żeby żerdki nie miał! Owa! Jeszcze mi uczciwy groszek do czego złego namówisz. Spróbuj tylko! A te konwalijki, jakie śliczniutkie. Jak panienki! Tylko mi się tu nie pchajcie, astry. Ho! ho! Znam ja was. Nibym to nie był przy ułanach. Ho, ho!“

Czasem ksiądz Piotr, gdy się dobrze po objedzie wyspał, pod wpływem dawnych wspomnień nabierał rycerskiego animuszu, a że zdziecinniały już był przez lata podeszłe, ofiarą padał pan Dzięgielewski. Kiedy się zaniosło na zawieruchę w sześćdziesiątym trzecim, ksiądz Piotr, zakasawszy poły od sutanny, ze starą ułańską szablą w ręku, musztrował na dziedzińcu plebanii ochotników, między którymi był i pan Dzięgielewski, wówczas jeszcze pomocnik pisarza i kawaler. Otóż staruszek bywał od czasu do czasu ciekawy, czy organista nie zapomniał musztry.

„Bierz acan ten długi cybuch, nie ten, tamten, dłuższy — mawiał — a mnie proszę podać ten krótszy. Tak. Baczność! Marsz! W prawo zwrot! W lewo zwrot! Zachodź! Stój!

Organista spocony, zziajany, stawał wyciągnięty jak struna przed kanonikiem, a ten przyglądał się jego postawie, szturchając go lekko cybuchem w brodę i obciągając sieraczkową kamizelkę ku pasiastym spodniom.

Cwiczenia te wojenne, choć dosyć rzadkie, irytowały mocno gospodynię księdza kanonika, pannę Katarzynę Capikównę, jako „i z powagą stanu kapłańskiego nielicujące i zdrowiu jegomości szkodzić mogące.“

Milczała jednak do czasu.

Ale raz nieszczęśliwie zdarzyło się, że księdzu Piotrowi, który słynął niegdyś jako rębacz i jedenaście pojedynków odbył, a tylko go raz pan Bogusław Chomialski lekko koło prawego ucha drasnął, za co sam miał twarz „rozjechaną“ od ucha po szyję, zachciało się spróbować, czy mu jeszcze „ręka chodzi“

— Panie Dzięgielewski, weźno dziś ten drugi, krótszy cybuch — rzekł — wstając z fotelu i zdejmując fajkę z cybucha, z którego ciągnął.

— Na co, że śmiem zapytać?

— Zobaczysz. Parujno kwartę.

— Jak ksiądz kanonik mówi?

— Broń aść brzucha z lewej strony.

Organista zdumiał się!

— Wszelki duch Pana Boga chwali, po prawdzie żeby powiedzieć! Wedle czego!!

— Nie pytaj się nic, tylko słuchaj! Na lewej nodze się oprzej. Lepiej, tak. Brzuch w tył. Ou, jaki to sztywny masz brzuch. Jakem był w twoim wieku, to jeszcze miałem jak panna Klocia Tymińska, com to jej onegdaj gruszek suszonych do Strzyżowic posłał... na siedmnaste urodziny. Podnieś głowę. Prawa wolna. Tupnij! Raz, dwa! Wypnij piersi. Ręka tak. Potem tak. Rozumiesz? Ja tak, ty tak! Raz, dwa! *Gardez vous!*

— Podług rozkazu, księże kanoniku!

— Teraz baczność! *En garde!* Łup!

Organista jęknął, a kwarta poszła tak dobrze, że ugodziła nietylko w brzuch pana Dzięgielewskiego, ale i w dwa wazoniki z fuksyami na oknie, które zleciały z wielkim hałasem.

„Biada podrzędnym istotom, gdy wchodzą
Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy“.

zadeklamował ksiądz Piotr, stając nad skorupami, ale wtem panna Katarzyna Capikówna wpadła do pokoju, czerwona, jak pomidor, gwałtowna, jak bomba.

— Jegomość! — krzyknęła.

— A co? — spytał skonfundowany nieco ksiądz Piotr, — nadrabiając miną.

Wstyd i obraza boska! Żeby to tak kto zobaczył! Ksiądz kanonik jak fircyk, z cybuchem po pokoju! A pan organista mógłby też mieć rozum. Ojciec dzieciom! I niby jakiś szlachcic! Jak się to jeszcze raz zdarzy, nie dam kawy, jak Boga mego kocham, nie dam kawy!

— Owa! Babska groźba, żabie deszcz! — ośmielił się mruknąć ksiądz Piotr.

— Babska nie babska! Jegomość mi też podlotek! — ofuknęła panna Katarzyna. — Może kamizeleczkę białą i żabocik! Patrzcie! — i zaperzona wypadła jak huragan z pokoju.

Ksiądz Piotr jednak był kontent.

czne, podnosiły bowiem jego wytwórczość. Tak samo było w ustroju rodowym. Przyswajając sobie stada zwierząt, zdobywając niewolników na wojnach, mężczyzna wytwarza własność indywidualną, skutkiem czego zjawiają się różnice majątkowe, wytwarzają się klasy z całym ich antagonizmem, powstaje władza państwowa. Rody, ich drobne organizmy społeczne, rozpadają się, ażeby wejść w skład większych organizmów, bardziej złożonych, bardziej różnorodnych. Rodzina, zależna zawsze od zmian zachodzących w ustroju społecznym, przechodzić musi z jednej formy w drugą, z matryarchalnej w patryarchalną, z rodowej w parzystą, z przewagą mężczyzny, mężczyzna bowiem jest panem w społeczeństwie nowem, państwowem. Gdzież tu jest ewolucyjna degradacyą?

Żadna forma życia społecznego nie jest ostateczną i być nią nie może; każda z nich jest dobrą w swoim czasie, najlepiej bowiem odpowiada wtedy obejmowanej przez siebie treści. Ustrój rodowy dobrym był, gdy wytwórczość społeczna była stosunkowo niewielką, złym — gdy wytwórczość wzrosła, gdy za ciasno jej było w jego granicach. Ustrój zatem po nim idący, ustrój klasowy ze swemi kolejnemi formami: niewolnictwa, poddaństwa i wolnego najmu, lepszym się okazał dla nowego stanu rzeczy, odpowiedniejszym dla wzrastającej szybko wytwórczości społecznej. Nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby zasady etyczne, na których się opierał ustrój rodowy, gorsze były od zasad etycznych dzisiejszego ustroju krajowego. Nie, przeciwnie nawet, lepiej one może odpowiadają współczesnym naszym ideałom; ale zasady owe musiały ustąpić przed zasadami innemi, niezbędnemi się jednak okazały dla ugruntowania nowej organizacyi sił wytwórczych życia społecznego.

Stara legenda o wieku złotym ludzkości i o upadku jej późniejszym, odgrzebywana od czasu do czasu, nie przestaje być dla nas pomimo przemawiających za nią argumentów, legendą tylko. Ludzie, nie zadowoleni z teraźniejszości, idealizują zawsze przeszłość lub przyszłość, tj. czynią ją taką, jaka odpowiada najlepiej ich pragnieniom, jednym słowem, upiększają ją. Każdy ustrój tymczasem ma swoje strony dobre i złe; tak było, jest i będzie. Ustrój rodowy musiał więc mieć swoje złe strony, tak jak je ma dzisiejszy ustrój, jak je mieć będzie późniejszy ustrój społeczny.

Każda organizacya nosi w sobie przyczyny własnego swego rozwoju i rozkładu, każdy więc ustrój społeczny musi przechodzić przez rozmaite fazy rozwoju, do jakiego jest zdolny i wyłowić z siebie nowy ustrój, lepiej odpowiadający nowym warunkom bytu.

Od końca XVIII wieku, t. j. od czasu narodzenia się wielkiego przemysłu fabrycznego, siły wytwórcze i środki komunikacyi rozwinęły się w stopniu przedtem niebywałym. Przemysł bawełniany posiada sto milionów wrzecion przędzalnianych w Europie i Ameryce; 188,000 robotników wystarcza dla wprowadzenia w ruch tej masy narzędzi, gdy przed stu laty potrzebaby było sto milionów robotników dla otrzymania takiego samego rezultatu, innemi słowy, każdy pracownik wytwarza dzisiaj 530 razy więcej niż wtedy. W rolnictwie, gdzie maszyny wolniej wchodziły w użycie, pług parowy, którego koszt na godzinę i na siłę konia wynosi pięć centymów (2 kop.), wytwarza pracę równającą się pracy stu oraczy. Co się tyczy środków transportu, to dawniej przeciętna szybkość dyliżansów wynosiła 8 kilometrów na godzinę, statków żaglowych 6 kilometrów. Dzisiaj szybkość parowozów wynosi 80 kilometrów na godzinę, statków parowych 25 kilometrów. Gdy dawniej podróż z Berlina do Paryża trwała 60 do 70 dni, dzisiaj trwa zaledwie 20 godzin. Dzięki telegrafom i telefonom najbardziej oddalone narody skomunikować się mogą w ciągu kilku minut.

Suma mechanicznych sił produkcyjnych całej ziemi równa się dzisiaj w przybliżeniu 50 milionom koni, t. j. siła mechaniczna zaprzężona do pracy wytwórczej na całej ziemi równa się sile jednego miliarda robotników. Produkcya wobec tak nadzwyczajnego rozwoju sił wytwórczych musiała wzrosnąć ponad potrzeby konsumcyi, musiała doprowadzić do tego, że człowiek opanowany został przez nią i nie wie, co z własnem swem dziełem ma począć. Usiłuje on znowu zapanować nad swą siłą produkcyjną, usiłuje wyłamać się z krępujących go już ram dzisiejszego ustroju.

Praca ludzka wobec rozszerzania się maszyn z niewolniczej staje się kierowniczą, mniej uciążliwą i krócej trwającą. Produkcya koncentruje się coraz więcej. Zależna od komsumcyi pierwotnie, trzyma dzisiaj w zależności konsumentów. Chodzi jej o to, ażeby jak najwięcej było konsumentów, jednocześnie zaś, mechanizując się coraz bardziej, zmniejsza stosunkowo ich ilość. Dzięki podbojowi krajów, nie wchodzących dotychczas jeszcze w granice jego panowania, dzięki podbojowi nowych rynków, system ten utrzymuje się jeszcze w pełni rozwoju, lecz z chwilą, gdy cała ziemia znajdzie się pod jego panowaniem, gdy cała ludzkość dostanie się w krępujące jego uściski, wówczas rozpadnie się on, jak się rozpadły systemy poprzednie, ażeby ustąpić miejsca systemowi nowemu, który rozwija się już dziś w jego łonie.

Każdy ustrój, każda organizacya nosi w sobie zarodki, czyli przyczyny owego rozkładu, nosi w sobie swą antytezę, jak mówią zwolennicy filozofii Hegla. Rozkładowe te przyczyny, stanowiące pewno zło w danej organizacyi, są atoli jednocześnie przyczynami twórczemi dla organizacyi następnej, wyższej ewolucyjnie, są zatem pewnem dobrem dla przyszłości. Złe strony dzisiejszego systemu produkcyi potrzebne są więc koniecznie nie tylko dla dobra tych, którzy z nich korzystają, ale i przyszłego dobra tych, którzy cierpią dziś z ich powodu. Ponieważ zaś są potrzebne, ponieważ społeczeństwa ludzkie nie mogłyby się bez nich rozwijać w dalszym ciągu, nie są one zatem niemoralne.

Porzućmy dotychczasowy sposób zapatrywania się na życie, polegający na unieruchomianiu go i odrywaniu od przeszłości i przyszłości. Życie przestaje być wówczas życiem, przestaje być strumieniem, odżywianym bezustannie przez nowe wody i zamienia się w bagno, zamienia się w trupa. Życie jest ruchem i w ruchu musi być badanem, jeżeli chcemy je poznać. Wszystkie fazy dotychczasowego jego rozwoju łącznie w dynamicznym z sobą związku i wszechstronnie muszą być rozpatrywane, wtedy dopiero zrozumiemy istotę teraźniejszości i dostrzeżemy kierunek, w jakim ona rozwijać się musi dalej w przyszłość, a nawet

---

— Baba jest zwyczajnie jędza — mruczał — a bądź co bądź ręka nie jest jeszcze zła. Jakby tak padło, ho, ho!

Lubiał ksiądz Piotr w letnie popołudnie za ogrodzenie plebańskie wejść i na ławce pod starym cisem siadłszy, w świat patrzeć. Widział ztąd zboża złociste, pełne modrych bławatków i maków czerwonych, różowe i białe zagony koniczyn, łąki przesiane mnóstwem różnobarwnych kwiatków, mieniące się pod blask słoneczny. Widział bór ciemny, jakoby pod drzącą, przezroczą gazą złoto-szmaragdowego światła, i gdzieś daleko mgliste, błękitniejące góry; a nieopodal widział jezioro wielkie, cichą, lekko falującą z wiatrem rozchwiej wodną, nenufarami żółtemi u brzegów i szeleszczącem sitowiem zarosłą, iskrzącą się miejscami jak blacha srebrna w słońcu, miejscami siwą lub siwo-fioletową. Po jeziorze pływały kaczki dzikie, czerniąc się na topieli sznurami, zawisały ponad niem czaple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzykliwych, a jezioro ciągnęło się szeroko, głęboko w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko to było zatopione w jakąś śreżogę światła, nieskończenie spokojne, rozległe, prawie bezgraniczne, jakby zasłuchane w wiatr i szum łąk i wody, łagodnej smętności, rozkołysanych tęsknot, jakiejś polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upojeń pełne....

Ksiądz Piotr patrzał i patrzał, i zrazu odróżniał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli poczynał mu się ten cały duży i rozmaity świat zlewać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę, błękitną a prześwietlną. Zboża, kwiaty, trawy i ciche kręgi fal jeziora i czaple na szerokich białych skrzydłach i stada krzykliwych czajek i obłoki przejrzyste i niebo jasno-błękitne, wszystko to napełniło mu oczy i czyniło w nich wielką światłość pogodną i niezmiernie słodką. Zdawało się księdzu Piotrowi, jakoby on już nie świat sam rzeczywisty, ale duszę świata widział, raczej opar jakiś czy mgłę, kolory ziemi niosącą, niż samą ziemię.

A potem to widzenie więcej duchem, niż oczyma poczynało się gubić i rozwiewać w przestrzeni wyłaniających się z pamięci obrazów, niegdyś widzianych. Zatem poczynały się w duszy księdza Piotra rozbłękitniać olbrzymie przewieje morskie, z okrętami o białych żaglach i olbrzymie przewieje pustynne; poczynały w niej szumieć cedry Libanu i palmy oaz arabskich, poczynały w niej rość piramidy milczące i wulkany o czerwonych kiściach płomienia u szczytu; poczynały się jawić miasta wschodnie, stubarwne, i owo rzymskie, martwe, z ziemi dobywane, i ludzi tłumy i zwierzęta dziwne; tworzył się w niej jakiś łagodny, przyćmiony odległością czasu chaos wrażeń, ogarniało je zapomnienie się, zamyślenie. I nieraz dopiero wysłany umyślnie przez gospodynię ulubieniec staruszka, siedmioletni sierota, Ignaś Znajda, budził go z zadumy, ciągnąc za sutannę.

— Jegomość!

— A... a co?

— Jegomośc spali?

— E, tak mi się tylko nieco zdrzemało.

— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, zaraz idziemy.

— Jegomość!

— A co?

— A cy Pon Jezus to tak po niebie chodzi, jak jegomość po ziemi?

— A tak.

— A cy je bosy?

— A pewnie. Pocóżby tam buty nosił, kiedy ciepło.

— A cy je wielgi?

— Ho! ho! jak świat!

— A to jak piorun gruchnie, to mu między palce od nóg leci?

— A pewnie, pewnie.

— A cy je dobry?

— Ho, ho! jak miód!

— A miód je dobry?

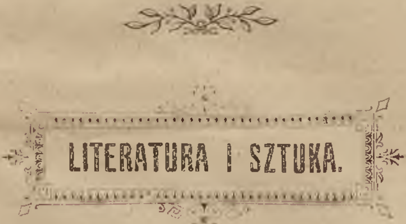
(Dokończenie nastąpi).



ogólne reformy samej przyszłości. Teraźniejszość jest tylko ogniwem w łańcuchu istnienia; cała przeszłość złożyła się na nią i cała przyszłość od niej zależy. Złe jej strony nie są czemś przypadkawem, ale koniecznością ewolucyjną; są one rodzajem fermentu, niezbędnego dla dalszego przekształcenia się jej, dla dalszego jej rozwoju. „Gdy zło nad miarę przeleje, to się często na dobre przechyla“ — mówi Słowacki. Zdanie to, jak i podobne doń: „niema tego złego, coby na dobre nie wyszło“, najzupełniej są słuszne w zastosowaniu do życia społecznego. Jak bez zła przeszłego nie byłoby tego, co dobrem jest dzisiaj, tak bez zła dzisiejszego nie byłoby tego dobra, jakie przyszłość światu przyniesie.

Ustrój dzisiejszy nie jest wobec tego ustrojem jakimś najgorszym, jakąś szczególną fazą zła pomiędzy dobrem przeszłości i przyszłości. Odpowiada on pewnej epoce rozwoju ludzkości, jak ustrój rodowy odpowiadał epoce dawniejszej, jak ustrój przyszły odpowiadać będzie epoce następnej.

Dr. Antoni Złotnicki.



Nowemu Bogu.

O, zleć na skrzydłach burz,
O, zstąp!
Czy słyszysz okrzyk w krąg?
Czy widzisz tysiąc rąk
U stoku świętych wzgórz,
Miecących głazów złom
Na dawnych bogów dom?
Bunt groźny tłumów tych Olimpu wstrząsa [zrąb, —
Umiera bogów ród...
Do miast swych wraca lud, —
Strząsając z szat swych kurz,
W dal pieśń tryumfu szle
I wszystko wzywa cię:
O, zstąp,
O zleć na skrzydłach burz.

* * *

O przyjdź jak wiosny dzień,
Jak blask!
Wieszczą cię szmery zbóż,
Wieszczą cię szumy mórz
Wśród gwiazd srebrzystych drzeń —
Czeka cię tęczy łuk
I łąk zielonych smug.
Świat cały czeka cię, o dawco przyszłych [łask!
Lud twój wieńcami róż
Ofiarny zdobi kruż
I wśród pochwalnych pień
Na cześć twą pali stos —
I wielki płynie głos:
Jak blask,
Jak wiosny zjaw się dzień!

* * *

W potęgi zbrojny dar,
O zleć!
Znękanym sercom daj
Zapomnień cichy kraj,
Wróć pieśni dawny czar,
I spraw, niech z ludu warg
Nie płyną słowa skarg;
Wszak chwałą twoją brzmi złocona kotłów [miedź!
Nim zwiędną wieńce róż
Nim zgaśnie w głębi dusz
Mistycznych wierzeń żar,
Zanim cię ludzi moc
W nicości zepchnie noc, —
O zleć,
W potęgi zbrojny dar.

Stanisław Wyrzykowski.

Dochody artystów i ceny dzieł sztuki.

Kiedyindziej już miałem sposobność zaznaczyć, jak publiczność nasza lubi się wczytywać w ceny, znajdujące sie na kartkach przyczepionych do obrazów na naszych wystawach sztuki. Bynajmniej nie dla tego je czyta, żeby miała zamiar obraz nabyć, ale z prostej ciekawości; może uważa to za nieodzowny warunek dobrego obejrzenia obrazu...

Dość, że czy z tej, czy z innej przyczyny zwyczaj ten jest bardzo powszechny. Po przeczytaniu ceny, następuje często lekki okrzyk zadziwienia, że podana suma jest taka wysoka i refleksye: „Co to za te pieniądze możnaby kupić? Czy za taki mały obrazek da kto tyle? Dlaczego ci artyści takie fantastyczne ceny podają? Jakże muszą być szczęśliwi i opływający w dostatki ci z nich, których obrazy są rozkupywane?“ itd.

Płótno porównywa się do cen rzeczy bardziej znanych: do szafy, lustra, kanapy, sukni balowej, konia, lub fortepianu i okazuje się, że obraz od tych rzeczy jest mniejszy, nie posiada tych przymiotów użeteczności a mimo to jest od nich droższy...

Ceny te wysokie a w pewnej części i brak poczuć artystycznych, oraz zamiłowania do sztuki, wywołują dość powszechny anachronizm w urządzeniu naszych apartamentów. Salon, gabinet urządzamy z przepychem: meble, portyery, tapety, dywany, firanki — wszystko to jest kosztowne, kapiące od ozdób i jedwabi. W rogu salonu stawiamy drogi fortepian, choć nikt w domu grać nie umie, ale za to ku ozdobie ścian zjawiają się różne reprodukcye, litografie w skromniutkich ramkach, które może są tańsze od tego kawałka tapety, jaki sobą zakrywają.

W restauracyach, hotelach i tym podobnych miejscach, gdzie chodzi o jak najtańsze urządzenie tuzinkowego komfortu, tam każdy mebel ma tylko pozory szyku a w rzeczywistości jest lichą tandetą i imitacyą, wszelkie więc oleodruki, litografie itd., są tam we właściwem otoczeniu. W domach jednak prywatnych mogą one pasować przy meblach krytych jutą lub bawełnianą materyą, nigdy zaś przy wytłaczanych aksamitach, jedwabiach i atłasach. W gabinecie lub bibliotece, jest odpowiedniejsze miejsce dla dobrych sztychów i kosztowniejszych reprodukcyj, ale w salonie o ile oryginalnemi są jedwabie kryjące meble, dywany an-

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

— Gotowa umrzeć!

— Nie wiem. Udzieliłam mu urlopu w twoim imieniu. Podziękował i odszedł.

— Dobrze zrobiłaś. Więc nudziłaś się sama, nieprawdaż?

— Ależ nie, czytałam zajmującą książkę. Zresztą zastanawiałam się, coby Smolarz zrobił z tą małą siostrą Anną, gdyby matka umarła. On tę siostrę tak kocha. I wiesz ojcze co wymyśliłam.

— Borajski, który w tym czasie żałował, że Lola nie chce przyznać się, iż w domu było jej samej smutno, bąknął machinalnie:

— No?

— Oto w razie śmierci Smolarzawej zabieram tę ukochaną przez niego Anulkę do nas do domu.

— Ha, czemużby nic?... Więc się nie nudziłaś dzisiaj moja duszyczko?

— Ach, mówiłam raz, że nie.

— Kiedy nie, to dobrze.

Wstał, złożył pocałunek na czole swej córki i odszedł do swego pokoju, zamierzając jutro, pojutrze, lub kiedyindziej wybadać Lolę i zapytać coby na to powiedziała, gdyby on miał zamiar ożenić się po raz wtóry.

Nazajutrz powtórzyły się nalegania przyjaciół wspólnego stołu u Bronarza, powtórzył też stary Borajski zapytanie wobec Loli, czy chciałaby mieć miłą towarzyszkę w domu — no, i gdy ta myśląc o Anulce Smolarzównej odpowiedziała „i owszem“, wyspowiadał się ojczulek przed nią ze swych zamiarów.

Lola nie zastanawiając się zbytnio nad doniosłością sprawy, naśmiawszy się i nażartowawszy z ojcowskiego zakłopotania, dała swe najwyższe przyzwolenie, czego następstwem było, że wkrótce potem wybrał się sąsiad Szeląg do sąsiada Antoniego Grzebińskiego, jako swat pana Borajskiego Kajetana.

Z powodu pierwszych odwiedzin u przyszłej pani Borajskiej, sprawił sobie pan Kajetan piękną czamarę z czarnej, cieniutenkiej materyi, jasny filcowy kapelusz, buciki z kozłowej skóry, miękkiej jak rękawiczka i przedstawił się w podrygach i niskich ukłonach hożej Marcysi Grzebińskiej, jako wielbiciel jej lic rumianych, ozdobionych dołkami po obu ust kącikach, jej oczu czarnych, uśmiechających się słodko, brwi i rzęs jedwabistych i rącząt pulchnych, jakby przez zdolnego tokarza z ciasta wytoczonych, a upieczonych na śmietankowem maśle.

Panna mu się podobała, on jej także — Lola pozwoliła — cóż zatem mogło stać jeszcze na przeszkodzie?

Do pięciu zatem niedziel, przed samym świętym Markiem, ożenił się Borajski z Marcysią. Organy zagrały mu marsza gdy wychodzili ze świątyni Pańskiej, muzyka powitała go fanfarą na progu domostwa pana Antoniego. Marcysia wśród tego tuliła się zalotnie do jego boku. Potem goście hulali i pili, młoda żonka szalała z radości, tańcząc bez upamiętania do białego dnia, Lola ściskała ją i całowała co chwila, zowiąc potrosze filuternie, potrosze naiwnie „złotą, kochaną panną macoszką...“ słowem, wszystko odbyło się pięknie i składnie.

Borajski patrząc z boku na miły stosunek tych dwu drogich mu kobiet, nie mógł się powstrzymać od radosnych wybuchów śmiechu.

Pani Borajska za przybyciem do domu, okazała się na wstępie wzorowo czułą i dobrą „macoszką“. Za całusy odwzajemniała się Loli gorącemi pieszczotami i godziła się z góry na wszelkie kaprysy wesołego podlotka, przyznającego się do nich z całą szczerością.

Ponieważ właśnie w tym czasie umarła Smolarzowa, a biedny pan Franciszek skarżył się raz przed Lolą, że Anulce źle jest u organiściny w Zapłotku, gdzie ją po śmierci matki umieścił, i że mu bardzo tęskno do małej siostrzyczki, więc Lola objawiła życzenie zabrania Anulki do domu rodziców. Pani Marcysia nie miała oczywiście nic przeciwko temu.

gielskie lub wschodnie, o tyle ściany powinny być ubrane oryginalnemi pracami artystów.

Ale powróćmy do cen tych prac oryginalnych i zobaczmy, o ile są one uzasadnione a także, czy artyści robią na nich tak świetne interesa. Nie będę się zastanawiał nad talentami wyjątkowemi, choć i o tych poniżej będziemy się mogli przekonać, że sumy, jakie za swe prace biorą, są często mniejsze od wyłożonych kosztów. Że za wyjątkowy talent należałoby się też wyjątkowe wynagrodzenie od społeczeństwa, na to się zapewne wszyscy zgodzimy, wezmę tu jednak pod uwagę tylko przeciętny typ artysty.

Mylnem jest dość rozpowszechnione przypuszczenie, że artysta mało się potrzebuje kształcić, że dość trocha talentu, tej iskry bożej — a reszta sama idzie jak po maśle. Że bez tej iskry na niewiele się praca przyda, to fakt, że jednak sama iskra nędzne będzie wydawała światło, bez odpowiedniego wykształcenia jej pracą i wiedzą, to także wątpliwości nie ulega. Przeprowadzimy porównanie pomiędzy lekarzem i prawnikiem, temi typami tak powszechnie ogółowi znanemi a artystą. Dwaj pierwsi mogą być ogółowi pożyteczni swą pracą, nawet gdy posiadają wszelkie przymioty natury, jak zdolności umysłowe i inteligencyę nieprzechodzące granic przeciętnych i normalnych, artystę jednak bez talentu lub talenciku wyobrazić sobie trudno. Czy to jest malarz lub rzeźbiarz, czy literat lub muzyk — każdy z nich musi posiadać jakąś dozę wyjątkowego daru natury, aby na obranej drodze mógł coś zdziałać.

Że za talent choćby czysto fizyczny i bez osobistej zasługi dany przez naturę, powinno się opłacać wyjątkowo, o tem najlepiej mogą zaświadczyć gardła wyrzucające wysokie *c* wśród rozentuzyazmowanych słuchaczów. Cofam jednak pretensyę do wyjątkowego wynagradzania i ciągnę dalej rzecz o przeciętnym artyście, w porównaniu z przeciętnym lekarzem i prawnikiem.

Jest dość powszechnie przyjęta, przynajmniej w teoryi zasada, że im kosztowniejsze było czyjeś wykształcenie, tem się ma prawo do większych następnie wynagrodzeń.

Lekarz potrzebuje stracić ośm lat na gimnazyum a pięć na uniwersytet, razem trzynaście. Dodam dwa jeszcze potrzebne na zdobycie jakiej takiej praktyki, pozwalającej pójść już o własnych siłach.

Pomiędzy artystami różnie bywa. Jedni kończą gimnazya i uniwersytety i dopiero następnie poświęcają się zupełnie sztuce, inni idą na tę drogę wcześniej a czasem z elementarnem tylko wykształceniem. Nie trzeba jednak identyfikować braku świadectw szkolnych z brakiem inteligencyi a nawet wykształcenia. Nie tylko z książki, ale i z życia człowiek się uczy, a położywszy paletę, niejeden z młodych adeptów sztuki, poświęca wolny czas książkom i całe lata spędzone nad niemi choć nie poświadczone świadectwami i pieczęciami, dają mu prawo do nazwy człowieka wykształconego.

Można jednak przyjąć, że ogół odbiera średnie wykształcenie gimnazyalne a mógłbym cały szereg nazwisk wyliczyć, nawet z naszej szczupłej kolonii artystycznej, gdzie artysta kończył w pierw prawo, matematykę, lub inny wydział uniwersytecki a następnie dopiero wstępował do jakiej szkoły lub akademii sztuk pięknych.

Są zwolennicy i przeciwnicy szkolnego kształcenia się w sztuce, to jednak pewna, że zupełnym samouczkiem być prawie niepodobna. Że nam tu nie o teoryę kształcenia, ale o obliczenie kosztów chodzi, weźmę za podstawę czas spędzany w różnych szkołach sztuk pięknych. Nie jest on ścisłym, bo głównie od zdolności i postępów zależy, i przesiadywanie kilku lat na jednym kursie ani do wyjątków nie należy, ani za złe uważane nie jest. Zwykle młodzieniec okazujący zdolności, nie czeka aż skończy wykształcenie encyklopedyczne, ale w wolnych chwilach, często bez planu i dorywczo, pracuje nad sztuką w sposób dyletancki. To mu pozwala czasem krócej na niższych kursach przebywać. Średnio licząc, przebywanie w którejkolwiek szkole sztuk pięknych pochłania około pięciu do sześciu lat czasu. Jeśli więc przyjmiemy, że uczeń wstąpił do niej, ukończywszy w pierw gimnazyum, to lata w szkole spędzone, odpowiedzą latom lekarza spędzonym na uniwersytecie. Ale lekarz, otrzymawszy dyplom, poprzestaje zwykle na tem i zabiera się do eksploatowania swych wiadomości, student zaś kończący szkołę sztuk pięknych widzi, że umie namalować modela, studyum akademickie, na dany temat skomponować szkic w sosie, jaki jest w modzie w danej akademii, ale do tworzenia skończonych obrazów, do zostania artystą, jeszcze mu daleko. Dla nich to istnieją przy akademiach majsterschule, stypendya na wyjazd itd. Wyjeżdża więc taki młody człowiek zagranicę, do wielkich ognisk sztuki, zwiedza muzea, galerye i zwykle wstępuje na nowo do jakiej znanej akademii, żeby popracować pod kierunkiem cieszącego się rozgłosem profesora. I w ten sposób znów kilka lat przemija i licząc razem z początkowemi studyami, przeminie z dziesiątek lat, zanim do pierwszej poważniejszej pracy może artysta przystąpić. Przez cały ten szereg lat, nic mu praca nie przynosiła dochodu, przeciwnie, kosztowało go wszystko dość dużo. Ogół w latach studyów pracuje z konieczności dla zarobku, że jednak te prace często rzemieślnicze i licho płatne, tylko opóźniają postępy — dowodzić nie potrzebuję.

Widzimy więc, że artysta większą ilość lat traci na udoskonalenie się w swym zawodzie, niż lekarz lub prawnik. Dowiodę też, że są te lata kosztowniejsze. Student medycyny, po za osobistemi wydatkami, potrzebuje tylko pieniędzy na wpis i na trochę książek fachowych. Młody artysta, po za zwykłemi wydatkami, ma drugie tyle kosztów na opłatę akademii, które, jeśli są prywatne, kosztują drogo, bo po 20—40 a nawet 80 mr. miesięcznie a po za tem są codzienne wydatki i to dość uciążliwe dla szczupłej kieszeni studenckiej, na płótno i farby, których przy ciągłem rozpoczynaniu coraz to nowych studyów, bardzo dużo wychodzi. Jeśli młody artysta pragnie pracować po za akademią, musi nająć choć niewielką pracownię, która kilkakrotnie przenosi cenę pokoju, w jakim student medycyny mieszka, i musi ponosić duży koszt na modele. Mówię o kosztach potrzebnych do normalnego kształcenia się, większość jednak niestety, pozbawioną jest tak dużych środków, albo więc mniej korzysta niż mogłaby, albo ponosi nadmierne wydatki na

---

I tak szczęście zacnego pana Kajetana Borajskiego było zupełne — ale...

Ale niezapominajmy, że działo się to wszystko przed trzema laty.

II.

Płynie sobie między wzgórzami potoczek szeroką a długą nieskończenie łąką. Płynie sobie spokojnie od młynka do młynka, przełazi z szumem, hukiem i parskaniem po kołach jednego, potem drugiego, trzeciego... i tak wszystkich siedem po drodze odwiedza, nie pomijając żadnego, wzorem nałogowego pijaka, któremu każda przydrożna karczemka miła. Nazywa się on „Rudy“.

Rudy potok miał zresztą wcale niezły gust, obierając sobie tę okolicę za szlak codziennej wędrówki. Przyznali mu słuszność w tym względzie sami ludzie, skoro jakby z zazdrości zbudowali wedle jego łąki bitą drogę „murowaną“, aby nią iść lub jeździć co piątku na jarmark do sławetnego miasta Kołczanowa.

Lecz, mój Boże, co Rudy robi sobie z ludzkiej zawiści?

Oto co piątku gonią z nim ludziska na wyścigi prostą drogą, podpędzając konie batożkami i myśląc, że będą prędzej w Kołczanowie. Gdzież tam, nieprawda. Między Zapłotkiem a Kozową jest z figurą świętego Andrzeja stroma górka, przy której i najlepszy koń zasapie się i zmęczy — nie mniej przykrą jest górka za Kwaśną i pod samym Kołczanowem — on tymczasem wywinie się po swojej jak stół łące w prawo, w lewo, nieraz nawet uda, że zawraca do domu, a mimo to czasu nic nie traci i nie męczy się; jeno płynie szparko i zdąża prędzej od nich do miasta. Otoczyły go góry i górki i bory wielkie i małe borki, przychodzące aż do jego koryta.... przychodzące z ciekawości, aby posłuchać, co czasem z wiosną Rudy prawi, gdy mu się na humor zbierze i warkotać kamyczkami zacznie. — On tym lasom, tym skałom co tu i tam sterczą jak tablice wielkie, tej przyjaciółce starej, szerokiej łące opowiada, co słychać u niego w domu, tam w wysokich górach, które hen, hen, widnieją na widnokręgu: jak tam już słońce grzeje i jak jest zielono po halach... Opowiadałby to samo tym chatom, co się rozsiadły przy nim zgarbione, — gdyby miały choć iskrę poezyi w sobie. Ale one są brudne i brudy swoje zdają mu, by dalej poniósł. Ileż to mydlin, śmiecia i innych obrzydliwości musi on od nich cierpliwie przyjmować! To też Rudy nie lubi ludzi ani ich domów; chaty i wioski mija prędko z zasłoniętemi oczyma, byle jak najprędzej dotrzeć do drugiej łąki, gdzie mu już jest wolniej i weselej. Niekiedy w złości, nadmie się, rozszerzy i uszarpnie której naumyślnie płot lub część chlewka, żeby niezdara wiedziała, że zbliżać się zbytnio do niego nie wolno. Tylko jedne młynki wielką mu radość sprawiają, bo jest w nich życie i poezya, a nawet walka..... zwłaszcza z tem kołem wielkiem, co Rudemu zęby nastawia i powiada „nie puszczę“ — „Otóż wiedz, że puścisz“ — powiada Rudy — spiętrzył się, nacisnął i już jest na drugiej stronie i tylko zaszumi, zaśmieje się z radości, że się przecież pokonać nie dał....

W ten sposób bieży on od Karpat aż do wielkiej matki-rzeki, która go za Kołczanowem w swoje przyjmuje ramiona.

Po drodze widzi wiele lasów, ale najmilsze mu są te, które ciągną się koło Zapłotka. Stare tam są sosny a takie rosochate, że ich obrazu w niewielkiem zwierciedle pomieścić nie może; że przez ich sumiaste wąsiska nawet w pogodny dzień nigdy słońca nie widzi.

Dawniejszymi czasy wychodził z nich codziennie barczysty, junacki Smolarz i siadał często gęsto nad brzegiem źródełka, bijącego z pod skały. Strzelbę zdejmował z ramienia, z torby myśliwskiej dobywał chleba, czosnku i wędzonej słoniny, jadł to wszystko krając ostrym nożykiem w płatki, a potem kładł się na brzuch i ciągnął wodę chaustami z kryształowego źródła. Kiedy wstał, z dużych wąsów jego lały się jeszcze strumyki. Ocierał je garścią, zarzucał strzelbę na ramię i szedł dalej.

Niekiedy towarzyszył mu mały chłopczyna, zwyczajnie bosy, z odkrytą głową i skrzypkami z deseczki pod pachą. Zdarzało się nieraz także, że strzelba i skrzypki wi-

kształcenie się, odbijając to sobie na najpierwszych potrzebach. Ta suma przykrości i codziennych dobrowolnych ofiar, chyba może być uważaną za równoważną z owemi normalnemi kosztami studyów. Tak więc, artysta potrzebuje odbywać dłuższe i daleko kosztowniejsze studya, niż doktor lub prawnik, a co za tem idzie. należałoby mu następnie drożej płacić za jego czas i pracę, choćby się nawet nie brało pod uwagę talentu.

Tymczasem doktór objeżdża chorych, zabawi u każdego kilka, lub najwyżej kilkanaście minut, zapisze receptę i mareczlki (zresztą słusznie mu należne) chowa ciągle do kieszeni.

Prawnik, za kilkanaście minut rozmowy każe też sobie płacić kilkanaście marek. W ten sposób, jeśli jeden i drugi rzeczywiście w ciągu dnia pracował, to wieczorem przekonywa się, że posiada tyle, iż nietylko na wygodne całodzienne utrzymanie domu mu wystarcza, ale i trochę na bok odłożyć może. Obaj ci panowie, w większej części wypadków, żadnych kosztów nie mają, ofiarowując tylko swą wiedzę. Nie liczę tu wcale różnych operacyj, suto zwykle pracę i zręczność wynagradzających, nie liczę też szczęśliwie przeprowadzonych procesów, itd. Dodać też mogę, że np. lekarz z góry wie, na jakie dochody może liczyć i ma je niemal zapewnione. Często ma stałą pensyą a ilość okolicznych mieszkańców, pozwala mu dość dokładny rachunek prawdopodobnych różnych dochodów wyprowadzić.

Jakie są dochody artysty?

Po za kosztami urządzenia pracowni, co odpowiada gabinetowi lekarza, musi on rozporządzać pewną sumą, pozwalającą na rozpoczęcie danego obrazu.

Po przygotowawczych studyach, często bardzo kosztownych, bo wymagających wyjazdów itd., artysta rozpoczyna pracę. Jeśli to będzie malarz, łoży koszta na płótno, farby i ramy, jeśli rzeźbiarz, jeszcze więcej kosztują go: glina, odlewy gipsowe, bloki marmuru, lub odlew w bronzie. Często trzeba nagromadzić różne potrzebne a zwykle kosztowne akcesorya, jak stara broń, makaty, kostiumy itd. Rozpoczyna się praca i zaraz zjawia się znaczny koszt modela. Wystawmy sobie, że przez parę miesięcy a często i dłużej, malarz, potrzebując jednego lub kilku modeli do obrazu, musi dać możność kompletnego utrzymania się jednej a często kilku osobom, które zajęte cały dzień w jego pracowni, o innym zarobku myśleć nie mogą. Wreszcie doliczmy do wszystkiego koszt utrzymania samego artysty podczas pracy. Wydatki rzeźbiarza z powodu kosztowności materyałów i potrzeby pomocy różnych rzemieślników przy odlewach, kuciu w marmurze itd. — są jeszcze większe.

Wreszcie praca została ukończona. Artysta wydał na nią z własnej kieszeni często znaczną sumę. Obraz lub rzeźba zostaje wystawioną, zyskuje poklask krytyki, ale.... nabywca się nie trafia wcale i praca powraca do pracowni autora, który rozpoczyna nową kompozycyę i na stworzenie j j ponosi nowe wydatki, nie mając o jotę większej pewności że to nowe dzieło nie wróci tak jak poprzednie do pracowni.

Im dzieło stworzone było większe i sumienniej opracowane, tem koszta stworzenia jego musiały być znaczniejsze a więc i cena sprzedażna wyższa. Wysokość znów tej ostatniej, największym nawet wielbicielom talentu artysty utrudnia nabycie dzieła. To błędne koło czyni, że mimo popędu wewnętrznego do tworzenia dzieł większych, niejeden artysta zmuszony jest malować rzeczy tuzinkowe, które prędko na stalugach wykończa, bez sumienniejszego opracowania i prędko między publicznością się rozchodzą, dając grosz gotowy autorowi. Nie trzeba jednak sądzić, że tylko dzieła wielkie są kosztowne a małe, ale sumiennie opracowane, niewiele kosztują artystę. Dzieje Meissoniera najlepiej temu kłam zadają!

Gdy lekarz lub prawnik znajdą uznanie i sławę dochody ich kolosalnie rosną, wydatki zaś *fachowe* nie powiększają się prawie wcale. Gdy zaś artysta szczęśliwie znajdzie uznanie, a co więcej powodzenie materyalne, wydatki jego rosną bodaj szybciej, niż dochody. Namalowanie i sprzedanie jednego większego płótna zachęca i bez tego rwącą się duszę artysty, do rozpoczęcia nowego, któreby przeszło swego poprzednika gruntownem opracowaniem, techniką i doborem przedmiotu. Bada więc, robi studya przygotowawcze, skupuje mnóstwo przedmiotów, które zdają mu się być potrzebne i zamienia pracownię na istne muzeum a modelom płaci naturalnie bez owego skrupulatnego obrachowywania się jak wówczas, gdy sam miał jeszcze mniejsze od modela dochody: jednem słowem, pieniądze nawet oględnie wydawane, rozlatują się na wszystkie strony.

Choćby artysta najbardziej był zamiłowany w swym zawodzie, to proza życia codziennego zmusi go do wymagania, aby sztuka, której służy, dała mu możność choć skromnego utrzymania się. Aby nie wpaść w deficyt lub długi, co niestety nierzadko się zdarza, musi obliczyć, że jeśli taką sumę na siebie i swą pracę wydaje rocznie, to przynajmniej tyleż powinien od ogółu za obrazy dostać. W przeciwnym razie musiałby mieć osobisty majątek dla pokrywania niedoborów. Sprzedane zatem obrazy powinny mu zapłacić nietylko za pracę nad niemi samemi, ale i za te dziesiątki studyów, które musiał robić a które całkiem do sprzedaży się nie nadają, za długie często poszukiwania i badania potrzebne do tworzenia dzieł nowych, wreszcie i za te dzieła, które, bądź że były nieudane, bądź że z powodu swych rozmiarów, nabywcy znaleźć nie mogły. Wszak to naturalne i w przeciwnym razie artysta nie mógłby egzystować.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Zwierzenia dyakoniski.

Przyczynek do psychologii kobiety.

(**Adine Gemberg**: Aufzeichnungen einer Diaconissin. Berlin 1895.)

Psychologia kobiecej duszy jest obecnie tematem, który nadewszystko zajmuje pisarza współczesnego. Pisał on dotąd o kobiecie, stwarzając ją sobie na wzór i podobieństwo swoje — teraz jednak zaczyna się jej przypatrywać jako istocie zupełnie od siebie różnej i odkrywa w niej takie uczu-

---

siały Smolarzowi na piersiach, malec zaś przyjegał niby tornister do grzbietu, obejmując rączętami szyję ojca, a kolanami biodra.

Ale już dawno dawno nie widział Rudy tego obrazka i pewnie go więcej nie obaczy.

Stary Smolarz był leśnym i mieszkał za wsią pod lasem w ładnej chacie, z okrąglaków zbudowanej. Rudy widzi ją dziś jeszcze codziennie, bo chata dłużej trwa niż życie ludzkie. Otacza ją, tę szarą, niewyprawioną na zewnątrz chatę, płot grodzony, na którego końcu stoi zielony słup, a na nim tablica ze znakiem rewiru i pańskim herbem wielkim jak dno czapki.

Tam to przyszedł Franek Smolarz na świat, a w jakiś czas po nim dziewczyna, którą nazwano Anulką — tam to spędzili oni oboje swą młodość, łażąc po płocie, grzejąc się na słońcu, zapędzając kury z lasu w ogrodzenie i używając swobody bez początku i końca.

Stary Smolarz był leśnym i pierwszym strzelcem u pana hrabiego — pierwszym był też postrachem na sprytnych kłusowników, co zaczajeni w bruździe pod lasem wybijali panu przy świetle księżyca kozły, sarny, zające i bażanty.

Nieraz, bywało, sunie się Smolarz brzegiem lasu, samym okopem cicho jak mara, przystanie na załomie, pochyli się i patrzy po miedzach. A wzrok jego bystry, który nigdy w celnym nie zawodzi strzale, odróżni o pięćset kroków — choć światło księżyca często oszukuje — kupę burzanu od zaczajonego Grzesia z Zapłotka, czy Dyzmy z Kozowej... lub też innego ze znanych sobie dobrze rabusiów zwierzyny. I wtedy już biada zoczonemu. W jednej sekundzie znika Smolarz w lesie. Za kwadrans może dopiero widać go daleko w polu: skuli się jak terlica, pełznie rowkami, to podbiegnie parę kroków, to przykucnie, to zniknie gdzieś zupełnie w dolinie, aż naraz zjawia się wysoki, wyprostowany, niby borek mściciel nad karkiem zapatrzonego w rąbek lasu kłusownika i woła:

— Ha dajesz tu strzelbę łajdaku!

I nie pomogą już żadne prośby, żadne błagania, ani też żadne zapewnienia, że strzelba dopiero ot, przed tygodniem kupiona i kosztuje siedm reńskich w srebrze, nie w papierkach. Zabierze jak swoją i poniesie w milczeniu do domu, by ją w niedzielę wraz ze skargą oddać leśniczemu.

Wiadomo, że dla kłusownika stracić strzelbę, to więcej znaczy niż pochować żonę lub dziecko. Smolarz zabrał ich może z pięćdziesiąt a samemu Dyzmie wydarł aż trzy!

Ależ to Dyzma odwzajemnił mu się za to.

Co prawda stracił trzecią i poszedł na dziesięć lat do więzienia, wszelako kula, którą posłał Smolarzowi z czwartej, gdy nieprzezornie wychylił się z lasu, była tak celną, że go położyła trupem na miejscu.

Smolarzowa, pogrzebawszy męża, przeniosła się z chaty leśnego do wsi, gdzie za pieniądze skarbowe kupiła chatkę, ogród i krowę.

Od tego też czasu Eranek począł chodzić do szkoły. Uczył się doskonale: czytał biegle, pisał prosto i równo, śpiewał głośno i poprawnie, nadto okazywał niepośledni talent do rysunków i języków, czego dowodem że w trzeciej klasie będąc, nauczył się do dni kilku służby przy Mszy św. po łacinie i zastąpił innego chorego chłopaka, który zresztą nigdy obowiązków swych przy ołtarzu pełnić dobrze nie umiał; dzwonił źle, a księdzu naprzykład odpowiadał: *et cum szpirytutum.*

Proboszcz polubił Franka ogromnie i przepowiadał mu, że kiedyś zostanie niechybnie pisarzem gminnym.

Atoli matka Smolarzowa inną dla jedynaka obmyśliła przyszłość. Oto postanowiła wyprowadzić Franka na „jegomościa“, któryby jak ksiądz proboszcz głosił z ambony kazania, Mszę pięknie śpiewał i miał grosiwa wiele, a to za każdy pogrzeb, za każde wesele i za odpusty...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



cia i takie myśli, jakich nie spodziewał się u niej znaleźć. To poznanie swojej istoty ułatwia pisarzowi współczesnemu sama kobieta, która występuje dziś śmielej niż dawniej i spowiada się z rzeczy, o którą nie posądzał ją nikt. I oto znowu leży przed nami ciekawy przyczynek do psychologii kobiecej.

„Die Aufzeichnungen einer Diaconissin" są pisane przez kobietę o wrażliwości artystycznej wielkiej i subtelnym zmyśle analizowania. Odsłaniają one cały ogrom wewnętrznych stron kobiecego życia, rzucają pęk jasnych świateł na typ w literaturze znany nie wiele, w życiu jednak powtarzający się co krok, na typ kobiety, która przechodzi przez życie, nie zaznawszy go zupełnie. Taką jest „siostra Minna" ewangielicka diakoniska w opowiadaniu p. Adiny Gemberg.

Dwa lata temu powstała w Niemczech instytucya, znana dziś ogólnie pod nazwą „evangelische Diaconie", instytucya na wpół świecka, na wpół duchowna, zapewniająca kobietom spokojne, bezpieczne życie i wygodne utrzymanie, a żądająca od nich w zamian umiejętnego pielęgnowania chorych. Siostra ewangielickiej dyakonii, ma wszelką wolność wystąpienia ze związku każdej chwili, ma wolność działania w charakterze swoim pomocnicy lekarskiej, gdzie chce i gdzie się jej podoba. Może pielęgnować chorych w szpitalach, które za to płacą dyakonii, lub w stacyach szpitalnych, urządzonych przez samą dyakonią, bogato wspieraną przez niemiecki świat protestancki — może wreszcie pielęgnować chorych w zamożnych domach prywatnych, albo też i ubogich, pozostających pod opieką dyakonii. Może, kiedy chce zamienić szary czepek dyakonissy na modną kapotkę światowej damy. Taka jej wolność. — Ale wstępując do związku musi ślubować karność i posłuszeństwo wobec przełożonych, musi ślubować pokorę i pozbycie się woli własnej dla celów zakładu — musi na czas służby wyzbyć się wszelkich porywów indywidualności własnej, musi przywdziać ów dziwny strój, który już na pierwszy rzut oka odróżnia ją od innych kobiet i piętnuje na cichą pobożną siostrę szpitalną. Jedną z tych sióstr szpitalnych jest i Minna młoda dyakonissa, której zapiski pamiętnikowe stanowią opowiadanie p. Adiny Gemberg.

Siostra Minna pisze pamiętnik, ponieważ w otoczeniu swoim, złożonym z sióstr pobożnych nie ma nikogo, komuby się zwierzyć mogła z myśli swoich, nie zawsze licujących z czepeczkiem dyakonissy. Wstąpiła ona do dyakonii, bo życzył sobie tego poważny pastor, jej opiekun, uważając to za najlepszę, najspokojniejszą przyszłość dla sieroty, bez dachu i bez opieki rodzicielskiej. Minna ma niezwykle piękny głos, szlachetnie artystyczną duszę, inteligencyą niecodzienną i ogromne zamiłowanie w muzyce. Wychowana od dzieciństwa w klasztorze, w tej atmosferze ścisłego porządku i karności, nie zaznawszy w życiu nigdy miłości żadnej, ani serdecznego ciepła, nie mając wyobrażenia o życiu i świecie, decyduje się zostać dyakonisą. Diakonia daje jej spokój, usuwa ją od walki z życiem, od starć między ludźmi. Spokoju tego ona pragnie. Pędzi więc życie w zakładzie, z jego monotonną i klasztorną jednostajnością, tylko czasem budzi się w niej drażniące pytanie: „Czy też nie ma w życiu nic coby wartem było więcej niżeli ten jej spokój." I wtedy nerwy jej grają, gra dusza — niespokojna w spokoju.

„Tak — dziecię moje — spokoju w życiu nie znajdzie nikt — powiada do młodej dyakonissy umierająca siostra przełożona, — ale można w niem znaleść miłość."

Dziewczyna o bladej, spokojnej twarzy, słów tych nie rozumie. Miłość, litość, współczucie, dla niej, której nigdy nikt nie kochał, z którą nigdy nikt nie współczuł, dla niej są te słowa zagadką. Wie, że w życiu jej nie grają one roli, tylko czasem budzi się w niej tęsknota, której zdefiniować nie może. Czy tęskni za śmiercią? Śmierć to spokój, będzie więc studyować śmierć, a może znikną te dręczące ją utęsknienia, może w jej serce zstąpi cisza, której tak pożąda. Studyując śmierć, przypatruje się życiu. Wszak ludzie tak przywiązani są do tego życia. Dziwni ludzie! Pragną życia, kiedy to życie gotuje im bóle, boją się śmierci, kiedy ta śmierć daje im ukojenie. Cóż więc stanowi urok życia? Cóż tych ludzi złamanych, zniszczonych. czasem zwątpiałych i sceptycznych, czasem rozżalonych aż do goryczy, może wiązać z życiem? Cóż? Miłość.

Młodą dyakonissę otacza miłość wszędzie, spotyka ją na każdym kroku. Tylko ją wychowano tak, że nie umie kochać i nie ma kochać kogo. Patrzy więc na tę miłość i dziwi się.

Uczy upośledzone umysłowo dzieci z cierpliwością, która wzbudza podziw jej przełożonych ale cierpliwość jej nie jest wynikiem współczucia, raczej obojętności. A przecież, gdy jedna jej mała uczenniczka, dziecię skarłowaciałe i nierozwinięte umiera, — cóż szeptają ledwie zrozumiale małe sine usteczka: „Kocham cię, bo byłaś dla mnie dobrą". Biedne dziecię przed śmiercią nie mówi nic innego, jak tylko kilka słów prawdziwej miłości za „pozorną miłość".

Przynoszą do szpitala ciało młodej pięknej panny. Zderzenie się pociągów kolejowych, które setki ludzi pozbawiło życia, zabiło i tę młodą, cudną dziewczynę, o rudawozłotych włosach, nosku dumnym i cerze przezroczysto białej. Rekognoskuje ją młody hrabia.

„Ach siostro! to była moja kochanka" — szepce hrabia — „całą młodocianą miłość moją złożyłem w tej kobiecie". — Była ona śpiewaczką wielbioną, czarującą, ubóstwianą. Głos jej entuzyazmował, wargi jej nęciły, oczy mówiły: Pragnę kochania! I żyła i była kochaną. A siostra Minna stoi nad zwłokami rówienniczki swojej i myśli, że i ona ma głos potężny i duszę artystyczną i wdzięk i młodość. I porównuje życie swoje, wraz z jego monotonią w zakładowych murach, z tem życiem jakie wiodła Lily Monta.

Czy lepszem jest jej życie, od tego, którego istotę stanowi ziemska, płomienna miłość?

Na młodej, ujmującej, chorej na raka kobiecie, ma się w szpitalu dyakonii odbyć operacya. Młoda kobieta leży w oddziale siostry Minny. Ma osobny pokój, lepszą opiekę, jaką szpital daje osobom zamożniejszym. Towarzyszy jej mąż, zdrowy, przystojny, silny mężczyzna. Kochają się a choroba niszczy całe ich szczęście. Siostra Minna z chłodnym swym zmysłem obserwacyjnym przypatruje się parze. Dzień operacyi się zbliża. Młoda kobieta wie, że cierpieć będzie męki straszliwe, — ale uśmiecha się przez łzy, aby mąż nie drę czył się myślą o jej cierpieniu. Mąż, któremu fizycznie nic dolega nic, przechodzi katusze na myśl o jej bólach.

Ona, kładąc się drżąca i wybladła na stół operacyjny, szepce w chwili, gdy życie się jej rozstrzyga:

„Żeby tylko mąż to zniosł spokojnie."

On stojąc pod drzwiami operacyjnej sali zaciska konwulsyjnie zęby i jęczy niby człowiek ranny śmiertelnie.

Co to znaczy? pyta siostra Minna.

Miłość i znowu miłość. Ale ziemska miłość wciska się w poważne mury dyakonii. Z siostrą Minną pragnie ożenić się pastor zakładowy, a potem lekarz zakładowy. Siostra Minna nie może pojąć, jakim sposobem ona spokojna i obojętna tę miłość wzbudza. Ma ona dla tych ludzi przyjaźń i życzliwość, ale miłość? Ach, gdy w ciszy nocnej staje przy organach w zakładowej kaplicy, pośród rzędem ustawionych trumien umarłych, wtedy to, śpiewając najulubieńsze melodye swoje, marzy o tym duchu, który prędzej może niż pastor zakładowy lub lekarz szpitalny, zrozumiałby tę tajemnie drżącą, ludziom niedostępną, muzykowi tylko zrozumiałą, spowiedź jej w tonach. Ale nie ma nikogo, coby jej mógł być duchem bratnim, a kochającym, — tylko stary profesor szpitalny ma łzy w oczach, gdy słucha jej pieśni, śpiewanych wśród umarłych i myśli o życiu tej kobiety, o bogactwach danych jej od natury, które tu się marnują w szpitalnych murach. A marnują się rzeczywiście.

Siostra Minna zaraża się i dostaje tyfusu, który zmienia się w ciężką, trawiącą suchotniczą gorączkę. Siostra Minna leży w zakładowej celi swojej i czuje, że śmierć wyciąga do niej dłonie. Śmierć! Nie bała się jej nigdy, pragnęła jej raczej. Ale śmierć dla niej, — młodej, pełnej wdzięku i uroku kobiety — dla niej śmierć? Teraz, kiedy ma się żegnać z życiem, zjawia się ono przed jej oczyma w mglistych, niewyraźnych obrazach. Przechodzi w myśli całą młodość swoją, spędzoną w klasztorze, — siedem lat dyakonii. Ale cóż to za wspomnienia, przesuwają się przed jej oczyma? Same obrazy chorych umierających, sceny z życia kalek, rekonwalescentów, bluźniących lub żegnających się spokojnie z życiem. Ale to nie są sceny z jej życia? Jej życia? Wszak jej życie ograniczało się na przypatrywaniu się życiu drugich. . I teraz nie ma nic, coby było jej wyłącznem, jej osobistem wspomnieniem...

Ale przecież... wszak tak ją kochają, — Teraz, gdy leży chora miesiące długie, widzi dopiero ile ma sympatyi wśród tych ludzi, z którymi żyła lat kilka, tak bliska ich, a jednak tak daleka. Siostry towarzyszki otaczają ją, patrząc w nią z ubóstwieniem, zgryźliwy stary profesor zagląda do niej w nocy, doktór nie odchodzi od jej łóżka, siostra przełożona usługuje jej sama. Czy miłością chcą ją przeprowadzić w tę ciszę, która jest śmiercią, a może być i nicością, straszną, beznadziejną, nieskończoną nicością? Czy to jest miłość? I w sercu umierającej dziewczyny rodzi się to dziwne uczucie, którego nie znała przez życie całe: — miłość do ludzi.

Taką jest mniejwięcej treść pamiętnika siostry Minny. Rzecz pisana z wielkim taktem artystycznym, miejscami pełna prostoty i szczerego liryzmu — owiana jest jakby jakimś stłumionym żalem. Jest to żal za życiem niewyżytem, jest to protest bogato uposobionej natury kobiecej przeciwko tym dziwnym warunkom istnienia, które nie dały jej się rozwinąć. I jako taki ma pamiętnik siostry Minny znaczenie ogólniejsze. Staje się on spowiedzią nietylko tych kobiet, które przysięga kościelna od życia odsunęła, ale całego szeregu tych wszystkich, które przechodzą przez życie, nie zaznawszy z niego nic, jak pracę, zaparcie się siebie, osamotnienie. Życie takie, jedynie pracą i rozczarowaniem wypełnione, może być jedynie udziałem kobiety. Mężczyzna zawsze i wszędzie może i umie sobie znaleźć coś, co życie mu uprzyjemni, kobiecie często nic zostaje nic, jak siedzenie po pracy w pokoiku swoim i wsłuchiwanie się w szum samowaru.

Nie jest wielką różnicą, czy życie jej stanowi uczenie swawolnych dzieciaków, czy prowadzenie ksiąg w wielkomiejskim magazynie, czy wreszcie pielęgnowanie chorych.

Tu wyrzeka się życia z świadomością tego, co czyni, tam życie daje jej pracę i utrzymanie, ale zresztą nic. I niejedna z tych, które od dzieciństwa znały tylko pracę, głuchą, gorączkową pracę, bez wszelkich uciech, może jak siostra Minna, stojąca nad zwłokami zmarłej, kochanej do szaleństwa śpiewaczki, szeptać z cicha: „Oto świat uczuć, o którym my nie mamy wyobrażenia.“ Nietylko w gwałtownych kolizyach, w nadziejach zawiedzionych leżą tragedye, ale i i w cichej samowiedzy pustki życiowej, w tej niemożności wyżycia sił danych od natury. To stanowi istotę tragedyi starych panien. „Le troisième sexe“ nazwał je raz Ferrero. I one to, pracujące z poświęceniem w najrozmaitszych filantropijnych stowarzyszeniach, występujące gdzieniegdzie z najradykalniejszemi hasłami feministycznemi, zajmujące się upośledzonemi lub nieupośledzonemi dziećmi, działające cicho, lub działające rozgłośnie, stanowią całą falangę owych istot zmarnowanych, zmarnowanych nie pod względem ideałów społecznych, ale ze względu na swe własne indywidualne życie, — których to jedną przedstawicielką jest siostra Minna. *L. R.*

Dumas ojciec o synu.*)

Cóż wam powiem o moim synu? Przyszedł na świat o tej nieokreślonej godzinie, kiedy dzień się już skończył, a noc się jeszcze nie zaczęła. To też zbiór przeciwieństw, tworzących jego dziwne „ja“, składa się ze świateł i cieni: jest leniwy i czynny; łakomy i wstrzemięźliwy; rozrzutny i oszczędny; nieufny i łatwowierny; zblazowany i niewinny; obojętny i skory do poświęceń; zimny w słowie, a gorący w pięści; drwi ze mnie umysłem, a kocha mnie całem sercem. Gotów zawsze okraść moją szkatułę, jak Walezyusz, a bić się za mnie jak Cyd.

Pełen jest werwy szalonej, pociągającej, niewyczerpanej, jakiej nie zdarzyło mi się nigdy dostrzedz u młodzieńca, werwy, co co jak źle stłumiony płomień, wybucha nieustannie w marzeniu, czy w czynie, w spokoju, czy w niebezpieczeństwie, w uśmiechu, czy we łzach.

Odważny na koniu, umie się obchodzić ze szpadą, fuzyą, pistoletem, doskonale tańczy wszystkie charakterystyczne tańce wprowadzone do Francyi po śmierci Gawota.

Od czasu do czasu gniewamy się. Wtedy on, jak syn marnotrawny, opuszcza dom rodzicielski, ja zaś kupuję cielca i zaczynam go tuczyć, najmocniej przekonany, że za miesiąc powróci zjeść swoją porcyą. Złośliwi utrzymują, że powraca dla cielca nie dla mnie, ale ja już tam wiem najlepiej, czego się trzymać w tej mierze.

Najpierwsze pytanie, jakie mi zwykle zadają obcy, niedyskretni ludzie, jest takie: „Ile należy do pana w sztukach pańskiego syna?“ Odpowiadam na to; absolutnie nic! Co więcej, gdy na próbie generalnej (bo ze sztukami mego syna poznaję się dopiero na próbach generalnych), dam Aleksandrowi jaką radę — muszę mu oddać sprawiedliwość — nigdy rady mej nie posłucha.

Raz wymawiałem mu: Dla czego nie mówisz ze mną o swoich sztukach gdy układasz plan, lub nie czytasz, gdy są już gotowe?

— Dla bardzo prostej przyczyny — odpowiedział. — Nietylko nasz sposób tworzenia jest różny, ale odmiennemi są wymagania sztuki w r. 1850, a w r. 1828. Wierzę tak bardzo w twój talent dramatopisarski, że twe uwagi zrodziłyby wątpliwość w moim umyśle i wpływem swym przeszkodziłyby rozwinięciu mego planu. Nie stałbym się tobą, a przestałbym być sobą. Lepiej tedy, abym pokazał się publiczności ze wszystkiemi mojemi wadami, ale i zaletami także mojemi.

W tym razie, jak we wszystkich zresztą kwestyą zdrowego rozsądku i ścisłego rozumowania, Aleksander ma najzupełniejszą słuszność.

Inni zajmą się rozbiorem moich i jego utworów. Ja powiem tylko, jak pisałem moje sztuki, a jak Aleksander tworzył swoje.

Przedewszystkiem zauważyć należy, że wychodzimy obydwaj z zupełnie różnych punktów; mój temperament skłania mnie do malowania namiętności, jego do przedstawiania obyczajów. Mnie pociąga niezwykłość i idealizm, jego — powszedniość i absolutna rzeczywistość. Ja zapożyczałem od Szekspira, on — od Moliera. Są to dwa zupełnie odmienne rodzaje sztuki. Gdy zabierałem się do roboty, zamykałem oczy, aby nie widzieć życia prawdziwego, szukałem w marzeniach lub we wspomnieniach jakiejś sytuacyi dramatycznej, zwykle jakiegoś rozwiązania. Gdy je znalazłem, sztuką była gotowa.

Proszę zwrócić uwagę, że Szekspir troszczył się o rozwiązanie najwięcej, Molier — najmniej. Wszystkie dramaty Szekspira mają rozwiązanie — mszalne lub nie, bo o to mu nie chodziło, ale zawsze ludzkie: np. „Makbet“, „Otello“, „Kupiec wenecki“, „Romeo“, „Ryszard III“. Oprócz „Swiętoszka“ żadna ze sztuk Moliera rozwiązania nie posiada. Powtarzam zatem, że mając najwięcej nabożeństwa do Szekspira, szukałem najprzód rozwiązania, a potem przyczepiałem do niego cztery akty. I dla tego wiele moich piątych aktów składa się z jednej tylko sceny, a te są właśnie najlepsze. Sposób tworzenia cały pochodzi z mojej głowy: i szkic sztuki i szczegóły wykończenia, budowały się same w moim mózgu! Zabierałem się do pisania, gdy dzieło było niejako skończone.

Aleksander postępuje całkiem inaczej. Szuka najpierw i wybiera typ, albo raczej jakiś typ spotyka go i opanowywa, Typ ten jest zawiązkiem sztuki. W „Damie Kameliowej“ nazywa się Małgorzatą Gautier; w „Dyanie de Lys“ — damą w perłach, w „Półświatku“ — Zuzanną d'Ange; w „Sprawie pieniężnej“ — Janem Giraudem; w „Synu naturalnym“ — Jakóbem Vignotem. I nie jest to wcale typ idealny; istniał lub istnieje w naturze.

Cztery ostatnie typy, wybrane przez Aleksandra, mogłyby były, a powiem nawet, mogą znajdować się na jego premierach i przejrzeć się jak w lustrze. Obok takiego typu moralnego lub niemoralnego, wytwornego lub płaskiego, grupuje on inne typy — drugorzędne, lecz równie żyjące i prawdziwe. Typy te pochodzą z koła zakreślonego cyrklem inteligencyi. Wszystko, co się znajduje w obrębie koła, łowi się, jak ryby w siatkę. Niektóre wyślizgują się przez oczka, ale to drobiazg.

Gdy Aleksander ma już typy, zaczyna od sceny najkomiczniejszej, lub najbardziej zajmującej — reszta się znajdzie. Ale tu zaczyna się praca. Praca to straszna, nieustanna, nieskończona, której poświęca dnie i noce, inteligencyę i zdrowie, nietylko swe życie duchowe, ale i materyalne. Podobny jest do gąsienicy, która przekształcając się w motyla, w stanie poczwarki zdradza cierpienia przemiany tylko przez drgania nerwowe. Dziesięć razy skończył i odetchnął — dziesięć razy spostrzega, że praca niekompletna, więc rozpoczyna na nowo. Przerabia całe akty, przestawia je. Wyrzuca osoby, które mu się zdawały niezbędnemi do akcyi; wprowadza nowe, które uważa za zbyteczne lub nie myślał o nich wcale. Gdyby dyrektor teatru nie wydzierał mu z rąk rękopisu, pracowałby ciągle nad tem samem. To łatwo zrozumiałe; nie budując od razu całości, zawsze może coś nowego znaleźć i dodać.

Widziałem dokoła jego biurka — dokoła, bo na biurku już miejsca nie było — siedem rękopisów tej samej komedyi, on zaś pisał ósmy. Do ostatniej chwili szuka: na generalnej próbie szuka jeszcze; przed podniesieniem kurtyny szuka, coby można dodać do pierwszego aktu; po pierwszym akcie — co dodać do drugiego itd. Gdy nareszcie kurtyna spadnie, gdy go wymieniają jako autora, gdy się uściskamy — pada na pół martwy. Siły go opuszczają, gdy już nie ma czego szukać.

Aleksander Dumas (ojciec).

*) Rzecz tę świeżo wydobył z listów prywatnych Dumasa (ojca) „Gaulois“.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ludwik Teichmann.

Ze śmiercią śp. Teichmanna zeszła jedna z najwięcej promieniejących gwiazd starej Jagiellońskiej Wszechnicy. Teichmann jako anatom zajął pierwszorzędne stanowisko nietylko w nauce polskiej, ale i europejskiej. Kiedy światowej sławy Hyrtel dowiedział się o powołaniu Teichmanna na katedrę uniwersytetu Jagiellońskiego, na jednym z wykładów powiedział do swoich uczniów: „Do Krakowa przychodzi anatom tak wielki, że ja nie jestem godzien rozwiązać rzemyka u nóg jego“.

Sp. Ludwik Teichmann urodził się w Lublinie d. 16 września 1823 z ojca Jakóba protestanta i matki Tekli z Olszewskich katoliczki. Stryj jego, pastor krakowski, a później superintendent w Warszawie, był serdecznym przyjacielem biskupa Woronicza. W czwartym roku życia stracił Teichmann ojca, a w dwa lata później matkę. Wziął go na wychowanie brat jego matki Krupski, leśniczy w dobrach Potockich pod Staszowem. Uczęszczał do gimnazyów: w Radomiu, Kielcach i w Warszawie, ale nie skończył całej nauki gimnazyalnej, gdyż zabrakło mu po śmierci wuja środków do kształcenia się. Przyjął więc obowiązki nauczyciela w szkole elementarnej w Warszawie, oddając wolne chwile pracy nad sobą. Mając lat dwadzieścia kilka znalazł się w Dorpacie, gdzie przez dwa lata uczęszczał na studya teologiczne. Czując jednak powołanie do nauk przyrodniczych, chciał opuścić Dorpat i udać się do Niemiec. Podał się przeto o paszport, ale nietylko, iż rząd rosyjski mu go nie udzielił, ale wezwał go do odbycia służby wojskowej. Ponieważ w zakresie jego marzeń nie leżała żołnierka rosyjska, przeto nie widział innego punktu wyjścia jak ucieczkę. Bez paszportu przeto, piechotą, brnąc po kolana w wodzie przy przejściu jakiejś rzeki, przebył granicę w roku 1851 i udał się do Heidelberga. Miał lat 28, kiedy się zapisał na wydział filozoficzny uniwersytetu heidelberskiego, wkrótce jednak przeniósł się na wydział lekarski. Drugi rok studyów medycznych spędził w Getyndze, gdzie otrzymał posadę asystenta przy zakładzie anatomii opisowej. Utrzymywał się przeważnie z wyrobu pięknych prepara-

tów, które zwracały powszechną na siebie uwagę. Już na trzecim roku medycyny imię jego stało się znane światu naukowemu przez rozprawę, w której dał wiadomość o odkryciu przez siebie nie znanych dotąd kryształów krwi, nazwanych przez niego „hemina“. Po otrzymaniu stopnia doktora medycyny z wyszczególnieniem, powołany został na prosektora do Monachium, a następnie do Getyngi. Tam go poznał wspomniany wyżej słynny anatom Hyrtel, a zdumiony jego pracami zawarł z nim ścisłą przyjaźń. W r. 1856 otrzymawszy stypendyum dla zwiedzenia znaczniejszych zakładów anatomicznych, udał się w podróż naukową, zwiedził Niemcy, Austryą, Anglią, Belgią Holandyą, Francyą, Danią, Szwecyą i Norwegią. Podczas pobytu w Wiedniu nagle zachorował, a wtedy przyjaźń z Hyrtlem stała mu się prawdziwie pomocną, gdyż słynny anatom wraz ze swoją żoną otoczył go najtroskliwszą opieką.

Powróciwszy z trzyletniej podróży naukowej otrzymał w Getyndze w r. 1859 *veniam legendi* jako prywatny docent anatomji i fizyologii. Na tem stanowisku otrzymał równocześnie dwie propozycye z uniwersytetu monachijskiego i krakowskiego do objęcia katedry. Lubo katedra w Monachium z natury rzeczy przedstawiała szersze widoki dla karyery, przeniósł nad nią katedrę krakowską przez przywiązanie do ziemi rodzinnej.

Po siedmiu latach profesury nadzwyczajnej, zamianowany został profesorem zwyczajnym anatomii opisowej (1868). Posiadał już wówczas medal zdobyty na wystawie paryskiej za przesłane preparaty anatomiczne. Jednocześnie uniwersytet kopenhagski nagrodził go za rozprawę „o przedostawaniu się obcych ciał przez błonę śluzową“ Dzieło jego „*Das Saugadersystem*“ uzyskało uznanie całego świata naukowego.

Kiedy w r. 1871 nastąpiły pierwsze wybory na członków krakowskiej Akademii Umiejętności, Teichmann wyszedł z nich jednogłośnie, a wybrany na przewodniczącego wydziału matematyczno-przyrodniczego został powołany na wiceprezesa tej najpierwszej naszej instytucyi naukowej. Godność tę piastował przez lat blisko dwadzieścia, póki jej nie złożył dla osobistych powodów. „Najserdeczniejsi opowiadali i dziś jeszcze opowiadają jakoby obraził się z powodu, iż po ustąpieniu(a raczej zmuszeniu do ustąpienia) pierwszego długoletniego prezesa akademii dr. Józefa Majera, nie został powołany na jego miejsce, choć jako wiceprezes miał poniekąd do tego najświętsze prawo. Ale nie to było przyczyną zrezygnowania Teichmanna z godności wiceprezesa. Jego zasady polityczne i jego osobistość raziły podobno członków krakowskiego towarzystwa własnej admiracyi i z tego powodu od czasu do czasu starano się ukłuć Teichmanna. Skarżył się np. że kiedy śp. biskup Dunajewski został kardynałem i zwołano posiedzenie Akademii, na którem uchwalono złożyć gratulacyę nowemu kardynałowi, ani nie zaproszono go z umysłu na to posiedzenie, ani nie wybrano go na członka deputacyi. Również kiedy zwołano posiedzenie w celu obrad nad udziałem Akademii w pogrzebie Mickiewicza, pominięto Teichmanna zupełnie, bo ani nie został wezwany na posiedzenie, ani zaproszony do reprezentowania Akademii podczas uroczystości pogrzebowych. Ta relacya o powodach zrezygnowania z godnosci wiceprezesa Akademii pochodzi wprost z ust zmarłego. Uważał on się za dotkniętego w swych uczuciach. i za lekceważonego przez rządzące w murach Akademii stronnictwo. Dlą tego też rodzina na pośmiertnych plakatach opuściła tytuł: „członek Akademii Umiejętności“.

W r. 1878 wybrany został Teichmann rektorem uniwersytetu, pełniąc poprzednio parokrotnie obowiązki dziekana.

Liczne Towarzystwa naukowe, krajowe i zagraniczne, powoływały go na swego członka. Od rządu austryackiego otrzymał ordery Franciszka Jozefa i korony żelaznej, oraz tytuł radzcy rządowego. Kiedy w r. 1883 podał jako emigrant prośbę do rządu rosyjskiego, aby mógł odwiedzać córkę zamężną, mieszkającą w Warszawie, otrzymał przychylną odpowiedź, zredagowaną w najprzychylniejszych wyrazach dla jego działalności naukowej.

Koledzy i uczniowie Teichmanna wraz ze światem lekarskim dwa razy w ciągu jego długoletniej działalności składali hołd jego zasługom i pracy: raz w r. 1886, gdy obchodził 25-tą rocznicę swej profesury, a drugi raz w roku zeszłym, kiedy stosownie do ustaw austryackich musiał opuścić swoją katedrę. Właściwie powinien ją już był opuścić w r. 1893, gdyż skończył lat 70, które to lata są ostatnim kresem służby dla profesorów uniwersytetów austryackich, ale na przedstawienie wydziału lekarskiego otrzymany został na katedrze jeszcze przez rok jeden na mocy osobnego rozporządzenia cesarskiego. Wtedy to, pragnąc pozostawić po sobie pamiątkę, wszystkie bardzo bogate zbiory z dziedziny anatomii opisowej, jakim żaden z gabinetów anatomicznych poszczycić się nie może, złożył w darze uniwersytetowi Jagiellońskiemu, lubo o nabycie tych zbiorów zgłaszały się zagraniczne uniwersytety i ofiarowywały właścicielowi znaczne wynagrodzenie. Kiedy go uroczyście żegnano w sali teatru anatomicznego odpowiadając serdecznie na liczne przemówienia zakończył rzecz swą słowami· „Do tych obowiązków naszych (profeserskich) należy posuwanie naprzód umiejętności, praca nad nią dzień i noc. Na tem polu ja panów nie żegnam. Skalpeli nie położyłem na stół, ani pióra nie złamałem. Jak długo siły pozwolą, pracować będę; od tych obowiązków żadna ustawa mnie nie uwolni! Wspólnie pracujmy na jednem polu; ja zbliżam się do końca, panowie rozpoczynacie pracę. Spieszcie się z tą pracą; ja długo nie mogę czekać. Im wcześniej znajdę sposobność spotkać się z panami w pracy na tej niwie, tem milej dla mnie będzie“.

I rzeczywiście „nie mógł długo czekać“, a to, iż umarł wkrótce po opuszczeniu swych obowiązków profesorskich, jest niepowetowaną stratą dla nauki, gdyż właśnie zabierał się do szczegółowego opisu swoich preparatów, przez co zyskałyby one podwójną wartość. Dopóki bowiem sam objaśniał je słuchaczom, dopóty nie potrzebowały one opisu, bez którego owoc jego pracy stanie się w znacznej części niedostępnym. Potrzebaby kogoś, coby poświęcił cały szereg lat, aby mógł taki opis przygotować, który dla Teichmanna, rzecz prosta, bardzo mało przedstawiałby trudu.

Prace swe z dziedziny anatomii ogłaszał Teichmann po niemiecku i po polsku, wydając je osobno, lub w rozprawach Akademii umiejętności, w „Gazecie lekarskiej“ i t. d. Przed dwoma laty ogłosił najświeższe swe prace „o naczyniach limfatycznych w słoniowaciźnie“.

Wykładana przez niego anatomia opisowa gromadziła nader liczne audytorium. Do ulubionych prelekcyi Teichmanna należały także wykłady o kości skalistej i o naczyniach limfatycznych. Tu był w dosłownem, najściślejszem znaczeniu wyrazu, panem swojego przedmiotu, naczynia limfatyczne bowiem on pierwszy dopiero obrobił i przez 40 lat z rzędu poświęcał się ich badaniu. Był to więc wykład taki, jakiego nie było w żadnym uniwersytecie, ztąd też gromadził nietylko słuchaczy anatomii, ale i medyków z lat wyższych, oraz doktorow medycyny czasowo przebywających w Krakowie dla uzupełnienia swych naukowych wiadomości.

Najlepszą charakterystykę Teichmanna jako człowieka i profesora podał przed dziesięciu laty śp. dr. Bolesław Lutostański, z okazyi jego jubileuszu profesorskiego w r. 1886. Oto godne powtórzenia ustępy z tej charakterystyki:

„Nie lubi on blichtru, owego naukowego szychu, lub nauki kończącej się na frazesach. Bywa szorstkim i dla tego nie cieszy się popularnością u ludzi, którzy nie lubią widzieć tajemnych dążeń umiejętności, naruszających błogi optymizm zadowolonych..... Przez siłę wyższej filozofii patrzący jasno na warunki życia ludzkiego, stara się on bez uprzedzenia poznać rzeczywistość, z czego wynika pewna surowość przekonań politycznych. Lecz gorąco miłuje Teichmann społeczeństwo polskie, często ślepe, lecz częściej jeszcze bałamucone przez swoich wodzów. Sprzyja on przedewszystkiem jego dążeniom ku dobru, prawdzie i postępowi, lecz nie naigrawa się z jego iluzyi i nie szydzi z jego skarg i bólów. Jako najzacniejszy obywatel, spostrzegający przywary narodowe, zwłaszcza brak wytrwałej pracy, pozostał Teichmann niewzruszonym w swoich przekonaniach i nie zaprzedał ich za misę soczewicy...... Wreszcie powiedzieć o nim można, że posiada pełen swobody i powagi nastrój, jest tkliwy jak dziecko, serdeczny jak kobieta, nieczuły jak anatom, obcy przesądom jak filozof, a surowy jak żołnierz“.

Do tej charakterystyki dodać jeszcze można chyba tyle, że w stosunkach towarzyskich był Teichmann bardzo naturalny, — składał chętnie togę uczonego, aby pogawędzić o sprawach bieżących. Był przytem ogromnym zwolennikiem humoru tak w rozmowie jak i w literaturze, to też odwiedzający tego poważnego człowieka nauki ze zdziwieniem spotykali na jego biurku dziełka i pisma humorystyczne. I jeszcze jedno, a charakterystyczne, był zapalonym w swoim czasie myśliwym.

Teichmann umarł d. 25 listopada po dość długiej, a skomplikowanej chorobie. Na łożu śmierci objawił życzenie, aby nie było mów na jego pogrzebie ze strony instytucyj naukowych, ztąd nad grobem jego przemawiał tylko pastor Michejda, przybyły umyślnie ze Szląska, który w swojej mowie zaznaczył między innemi istnienie uczuć patryotycznych wśród polaków-ewangelików na Szląsku. Rodzina Teichmanna otrzymała liczne dowody współczucia nietylko z kraju od osób prywatnych i od naukowych instytucyj, ale z zagranicy, zwłaszcza od wybitnych uczonych niemieckich.

K. Bartoszewicz.

Z estrady i sceny.

(Hania. Obraz dramatyczny w 5 odsłonach p. Mikulskiego. Według powieści H. Sienkiewicza).

Niejednokrotnie już składała dyrekcya teatru poznańskiego wyraźne dowody, że nad kolebką jej nie śpiewały muzy. Być może, że sprytny Merkury niańczył to dziecię, które kiedyś objąć miało ster teatru naszego, ale z Parnassu nikt nie upoił pieśnią cudowną dyrektorskiego niemowlęcia.

Przy sposobności opowiem czytelnikom moim kilka rozkosznych zakulisowych anegdot o krytycyzmie i artyzmie dyrekcyi obecnej, — dziś prezentuję próbkę najświeższej daty, której imie „Hania“,

Rozumiem, że wielkorządzca teatralny nie może jedynie wyborowych utworów wprowadzać na deski, – rozumiem, że obok prawdziwych klejnotów, nieraz simili-brylan-

ty i szkło czeskie błyszczeć muszą w repertuarze scenicznym, lecz tak jak na wystawę obrazów żaden kochający sztukę kierownik nie przyjmie kwartanerskich rysunków lub pensyonarskich malowideł na drzewie, tak i na scenę wprowadzać nie należy utworów pozbawionych nietylko iskierki talentu, ale nawet znajomości elementarnych prawideł techniki. W kraju jednak, gdzie o fatalnie kolorowanych kopiach początkujących dyletantów-malarzy zamieszcza prasa panegiryczne dusery, tam i scena staje się bezkarnie przytułkiem wołającej o pomstę do nieba tandety. A społeczeństwo patrzy już od lat 13 na tę gospodarkę, obniżającą z roku na rok poziom artystyczny teatru naszego, i — milczy. Gdzieś na poufnych posiedzeniach, czy to w kawiarniach, czy w prywatnych domach, ludzie nieraz wzdrygają ramionami i uśmiechają się złośliwie, lecz publicznie nikt nie podniesie protestu i toleruje spokojnie dramatyczne lepianki rodzimych i nierodzimych grafomanów.

Wiedząc z oficyalnych i prywatnych komunikatów dyrekcyi, jak czule ukochała nie tyle teatr ile ster teatralny, i słysząc przed kilku zaledwie tygodniami, w uroczystej chwili jubileuszowej, płaczliwe jej skargi na niewdzięczność ludzką, „która usunąć pragnie starego kierownika", nie mam serca powtarzać mojego „C e t e r u m c e n s e o", że jaknajprędsza zmiana dyrekcyi jest nieodzownym postulatem dobra publicznego. Chcąc jednak w części przynajmniej zapobiedz artystycznej a poniekąd i materyalnej ruinie teatru, przedkładam niniejszem radzie nadzorczej projekt ustanowienia na wzór krakowski, obok dyrekcyi, k o m i s y i a r t y s t y c z n e j, któraby czuwała nad rządami p. Dobrowolskiego. Nie przeceniam bynajmniej wpływów takiej kontroli, ale w chwilowych warunkach widzę w niej jedyny środek zapobiegania wybrykom i dziwolągom dyrekcyjnym. Nie dokona ona może radykalnej reformy, ale oszczędzi nam zapewne widoku takich karykatur, jak Sienkiewiczowska Hania w przeróbce p. Mikulskiego.

Czytelnicy nasi słyszą zapewne po raz pierwszy nazwisko tego autora. Dla informacyi więc uprzedzam, że i ja w szrankach literackich nie spotkałem nigdy p. Mikulskiego, — wiem jednak że przerabiacz Hani był trzeciorzędnym aktorem na warszawskiej scenie, a obecnie jest szczęśliwym właścicielem składu węgli w stolicy Królestwa Polskiego. B e a t i p o s s i d e n t e s! Nie moją rzeczą wydawać opinję o kupieckich zdolnościach autora, uszczęśliwiającego scenę poznańską, ale zdaje mi się, że gdyby w „przemyśle węglowym" pracował z równą znajomością jak w sztuce dramatycznej, to upiór bankructwa siadłby niebawem na stosach jego „czarnych dyamentów". Sienkiewicz na scenie! Ubolewaliśmy już nad teatralną parodyą takiego „Ogniem i Mieczem" lub „Pana Wołodyjowskiego" — ale obie te słabiutkie przeróbki są prawdziwemi arcydziełami wobec „Hani" p. Mikulskiego. W tamtych przebijała przynajmniej gdzieniegdzie znajomość sceny i faktury, — tu ludzie błąkają się jak duchy po deskach, wchodzą, wychodzą, siadają, — po co i na co? któż to odgadnie? Jest to jakieś bezustanne suwanie, przypominające widowiska w wiedeńskim lub berlińskim „Parodietheater". Ktoś staje się niepotrzebnym na scenie, — co począć? p. Mikulski nie jest w ambarasie. Bohater jego powiada: „Chce mi się jeść" i znika. Dla przerabiacza Hani prawdopodobieństwo sytuacyi jest zupełnie zbytecznym postulatem. Akt III. n. p. zawiera połączenie sceny rozgrywającej się w Warszawie, w studenckiej izdebce, z ślicznym epizodem nowelki, gdy Selim, powróciwszy na wieś przesadza konno bramę ogrodową i tym brawurowym popisem zdobywa serduszko Hani.

To przyczepienie dwóch oddalonych momentów powieści, to zlutowanie dwóch terenów akcyi odbywa się na scenie kosztem prawdziwych dziwolągów sytuacyjnych. Posłuchajmy: Selim i Wiktor przywożą z sobą na wakacye pesymistę Adama. Nikt nie wychodzi na powitanie, choć dom cały oczekiwał z upragnieniem młodzieży. Więc panowie studenci zasiadają za stołem i upijają się wódką, powtarzając źle dobrane wyjątki z Sienkiewiczowskiego dyalogu. Nagle oświadcza Adam, że musi iść przywitać „starych" i znika, a Selim kłania się również publiczności i oświadcza, że jedzie do rodziców. Zostaje sam Wiktor, któremu wcale nie spieszno do ojca, i niebawem wpada Hania wraz z całem towarzystwem wiejskiem. Uściski, okrzyki, spóźniona scena powitania. Wtem dzieje się awantura. Selim w ciągu 5 minut odbył podróż milową do rodziców, zdążył już wrócić na wspaniałym bachmacie i skacze przez bramę. No i t. d. W ten sposób prowadzi właściciel składu „węgli" swój utwór od początku, do końca. Nie może sobie dać rady z materyałem, więc kraje, sztukuje, obcina, kurczy, — jednem słowem wspaniałą sienkiewiczowską poezyę zamienia w jakąś skandaliczną zbieraninę szczegółów nowelistycznych, bez związku, motywów i prawdy. Przy takiej operacyi oczywiście zatraciły swój charakter główne osoby dramatu. Selim np. w pierwszych trzech aktach jest zwyczajnym błaznem, — bohaterski urok tego Tatarzyna, — jego legendowe oblicze, — wszystko to utonęło w węglach p. Mikulskiego a został tylko błaznujący fircyk. Nie dziw więc, że p. *Wostrowski* w tej roli, zamiast „księcia z bajki", stworzył wodewilowego amanta, — żal mi jednak, że nie przestudyował Sienkiewiczowskiego pierwowzoru i nie starał się w tym wyjątkowym wypadku *poprawić* przerabiacza.

Jedyna postać sobotniej premiery, reprodukowana względnie poprawnie według orginału, to Wiktor, a rola ta w znakomitej interpretacyi p. Grabowieckiego odznaczała się prawdą, życiem i plastyką. Gra młodego artysty była jedynym momentem sobotniego wieczoru składającym ręce do oklasków, — jedyną oazą w tej pustyni scenicznych trywialności i nonsensów. To też kończąc recenzyę moją w formie admonicyi — stósownie do przepisów starej, retorycznej „chryi"! — ośmielam się zawołać: Panie Mikulski! zostań przy węglach! — Panie dyrektorze! zlituj się nad teatrem.

W. R.

NA WYŁOMIE.

(O b r a z c e s a r s k i)

W illustrowanych czasopismach i oknach wystawnych rozmaitych księgarzy i obrazkowiczów pojawiły się drzeworyty i fotografury, zaopatrzone nazwiskiem Wilhelma II. Artysta, któremu przysługuje tytuł „Najjaśniejszego", zgromadził po lewej stronie obrazu allegoryczne postacie kobiece, wyobrażające ludy Europy pod wodzą archanioła Michała z mieczem ognistym w ręku, — po drugiej stronie ze skrzyżowanemi nogami zasiadł Buddha indyjski, straszny i groźny w swym głuchym spokoju. Wojowniczy archanioł wskazuje na azyatyckiego potwora energicznym giestem, a zaciekawionej publiczności opowiada marginesowy napis, że ten wódz niebieskiego wojska woła wielkim głosem: „Völker Europas wahrt eure heiligsten Güter" — „Ludy Europy brońcie waszych najświętszych skarbów". By zaś nikt nie wątpił, jakie ideały przyświecają ukoronowanemu artyście, Wilhelm II wysłał podobno pod adresem cara rosyjskiego wraz z obrazem komentarz, że najświętsze skarby to *„narodowośc i religia"*.

Ludzie patrzą, dziwią się i kręcą głowami. Czy cesarz niemiecki lęka się zaboru Europy przez Chiny i Japonią, lub najścia Buddhyzmu na ludy chrześcijańskie? Czyżby uwierzył prorokom społecznym, którzy raz po raz wchodzą na trybunę i zwiastują głosem Kassandry, że Europa do Chin należy? Czyżby przeraziły go sekty Buddhystów, zrodzone na paryzkim bruku, a liczące już podobno wyznawców swoich na tysiące i dziesiątki tysięcy? Może... może, — ale to muzyka przyszłości. Mnie się wydaje, że w tym obrazie przesłanym *carowi rosyjskiemu* z okrzykiem: „Ludy Europy brońcie narodowości i religii" leży jakaś straszna ironia i brzmi jakaś skarga okrutna: „Narody Europy nie bądźcie M o n g o ł a m i! Nie mordujcie w Krożach ludu polskiego za to, że broni k o ś c i o ł ó w swoich! Nie rzucajcie w paszczę cytadeli młodzieży polskiej za to, że kocha narodowość swoją! Nie wieszajcie na szubienicach i nie zamrażajcie w sybirskich lodach tych, których jedyną winą jest miłość ojczyzny." O! tak, w szlachetnem słowie Wilhelma II dźwięczy ten wyrzut i bolesna skarga! Ludy Europy nie bądźcie Mongołami, a ty biedny, rozdarty i wydziedziczony narodzie polski spełniasz tylko swój obowiązek, jeżeli uważasz to, co ci wydrzeć usiłują: — „n a r o d o w o ś ć i r e l i g i e", — za najświętsze skarby, i tych ukochanych klejnotów bronisz z bohaterstwem. Do ciebie mówi cesarz niemiecki, że dobrze czynisz. Do ciebie mówi cesarz niemiecki, że gdybyś nie bronił Polski i wiary swojej, to skarbnica ideałów twoich byłaby próżną skrzynią lub rupieciarnią tylko i składem tandety. Chciałbym to słowo rozśpiewać wszędzie, chciałbym je przedewszystkiem krzyknąć nad uchem tych, którzy wydzierają „najświętsze skarby", i tych, którzy je bronią. A tacy nie mieszkają jedynie pod berłem rosyjskiego cara. Rozejrzyj się tylko narodzie niemiecki po własnych ziemiach swoich, — panowie ministrowie i ty sejmie pruski — panowie H. K. T. i ty rzeszo krzyżacka, która im stopy całujesz, — stańcie do spowiedzi i mówcie: Czy szlachetne słowo Wilhelma II nie jest dla was dymem? Czy czyny wasze nie urągają cesarskim ideałom? Bo słowo monarchy nie znaczy tylko „Brońcie narodowości i religii waszej", lecz z żelazną konsekwencyą oznaczać musi: „Nie wydzierajcie jej innym". Ta Azya, której cesarz się lęka, wyobraża cywilizowane barbarzyństwo Europy, które w łagodniejszych formach, lecz z większą rafineryą i logiką zabiera ludom wolność, narodowość i wiarę. A może w tych słowach cesarskich tkwi jakieś ciche *votum separatum* w posępnym chórze ciał obradujących — chórze rozbrzmiewającym pieśnią „Ausrotten". Może to znaczy: „Nie mogę na polityce moich ministrów i sejmów wycisnąć piętna humanitarnego, więc w allegoryi spowiadam się z ukochanych, lecz w praktyce spętanych niestety przekonań". *Chi lo sa!* Widzę, jak rozpromieniły się oblicza naszych marzycieli politycznych, którzy już dawno na kontraście sejmu, ministrów i narodu z jednej strony, a cesarza z drugiej opierali swoje „wielkanocne fantazye". Wierzyli oni w tę walkę Wilhelma z otoczeniem i ufali, że zwycięzcą wyjdzie z niej monarcha. Biedni poeci! Zawieszą obraz na ścianie, uklękną przed nim i śnić będą rozkosznie. Obraz jednak zostanie obrazem, a polityka pójdzie swoim torem.

Czy odgadłem dokładnie treść cesarskiej

allegoryi — tego przysięgą stwierdzićbym nie mógł, lecz coś mi się marzy, że takie wyjaśnienie może być — proszę tylko nie kręcić głowami — prawdopodobniejszem, niż rzekomy strach Wilhelma II przed Chinami i sektą Buddhystów. Umysł młodego monarchy zbyt jest trzeźwym i zbyt pochłoniętym palącemi kwestyami chwili obecnej, aby pieścić się fantazyami Chino- i Buddhofobów. Jednego tylko pojąć nie mogę, dla czego właśnie Buddha, najpotężniejszy duch starożytności (a nie ulega kwestyi, że figura na obrazie odpowiada starym wizerunkom indyjskiego mędrca) — zepchnięty tu został do symbolu azyatyckiego barbaryzmu. Tego szkopułu jednak nie usuwają również inne tłomaczenia cesarskiej allegoryi.

Mówią, że ten azyatycki Buddha, który przykucnął w kącie obrazu i drapieżnem okiem spogląda na ludy Europy, jest symbolem społecznego przewrotu, który w formie socyalizmu i anarchii zbliża się ku nam. Mówią, że cesarz, który już nieraz rzucał rękawicę czerwonym prądom, upomina obrazem swoim ludy Europy, by wspólnemi siłami broniły religii i narodowości przed demonem kosmopolitycznego i bezwyznaniowego socyalizmu.

Ze względu na dotychczasową działalność młodego monarchy tłomaczenie takie miałoby pewne cechy prawdopodobieństwa, gdyby można — znowu ta zagadka! — skonstruować jakieś tertium comparationis między azyatyckim Buddhą a europejskim socyalizmem! Buddha i socyalizm! naprożno myśl wytężam i szukam łącznika. W dziełach tego wielkiego filozofa, etyka i prawodawcy nie znalazłem nigdzie idei przewrotu w pojęciu prądów dzisiejszych i żałowałbym szczerze, gdyby ten potężny mędrzec indyjski, ten głęboki Sakjamuni miał się zamienić na obrazie cesarskim w potwora, grożącego zagładą ludom Europy. Ileż to razy w księgach wielkiego Buddhy szukałem świateł mądrości i zachwycony ich blaskiem pragnąłem skąpać w nich świat cały. Posłuchajcie!

Otwieram tom X. świętych ksiąg w przekładzie Müllera i czytam:

Wiersz 133.

Nie przemawiaj do nikogo surowo.

Wiersz 187.

W śród tych, którzy nas nienawidzą, działać będziemy bez nienawiści.

Wiersz 270.

Ponieważ miłosiernym jest dla każdej żywej istoty, więc świętym zowie się człowiek.

Wiersz 327.

Pilnuj myśli swoich.

Wiersz 361.

Dobrze jest panować zawsze nad samym sobą.

Tak mówi Buddha.

Więc wierzyć nie mogę, by właśnie wielki filozof otrzymał w obrazie cesarza stempel demona przewrotu i służył jako symbol zagłady. Przeciwnie — lubo do sekty Buddhystów nie należę, — mniemać się ośmielam, że Wilhelm II ukochał gorąco prawdy mędrca indyjskiego i pragnie usilnie, by cała ludzkość niemi się przejęła.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* **„Bitwa pod Raszynem“** p. W. Przyborowskiego — powieść historyczna dla młodzieży. Wydanie drugie.

Pamiętam z jakiem zajęciem odczytywałem, będąc chłopięciem, przygody bohaterskiego Janka, ujęte w zajmującą historyę, a opowiedziane stylem lubo prostym i przystępnym dla młodocianych czytelników, przecież pięknym i potoczystym. — I dziś z przyjemnością przejrzałem nowe wydanie opowiastki z owych czasów, gdy ostatnim laurem konającej ojczyznie skroń wieńczyli nasi bohaterowie. — Wspomnienia te zawsze urok swój mają, a podane w formie bajeczki rozczulić muszą serduszka małych czytelników. Z niepokojem śledzą oni ucieczkę Jasia z lochów, do których zamknęli go Austryacy, lub podróż jego na kucyku, gdy pędzi nocą do ks. Józefa Poniatowskiego, by ostrzedz wodza przed grożącem mu napadem. I radością uderza serduszko dziecinne, gdy pieszo — bo kucyk padł mu w drodze — mały bohater dopada kwatery księcia i w krytycznej chwili ratuje go przed wrogiem. Potem znów niepokój przejmuje czytelników, gdy powtórnie schwytany przez Austryaków i przypadkiem tylko od stryczka ocalony, — błąka się Janek po lesie i wpada w ręce cyganów, zamierzających go wydać jenerałowi, dowodzącemu wojskami austryackiemi, w nadziei znacznej nagrody. Lecz dzielny chłopiec ucieka w towarzystwie młodego cygana, po drodze chwytają konie ułańskie i uzbrajają się bronią poległych w utarczce żołnierzy, — a ścigani przez bandę wpadają w sam wir walki. W tej chwili los owej słynnej wygranej pod Raszynem miała rozstrzygnąć szarża kawaleryi. — Zabrzmiała trąbka i koń unosi Janka w szeregi walczących — ogarnia go zapał, dobywa szabelki i uderza odważnie na nieprzyjaciela, — zabija swego prześladowcę rotmistrza von Lampe i bierze do niewoli Franca.... W nagrodę tych czynów ks. Poniatowski obdarza go orderem i podnosi do zaszczytu dziecka pułku. Dla zajmującej treści i pięknej formy polecamy uwadze czytelników naszych nowe wydanie „Bitwy pod Raszynem“, ozdobione rycinami J. Pankiewicza.

G.

* * *

* **„Jenerała Jakuba Lewińskiego pamiętniki z 1831 roku“**, — wydane staraniem poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, przez Karola Kozłowskiego. Poznań 1895. —

„Nie rewolucyę opisywać, ale w prawdziwem świetle wystawić chcę udział, jaki sam w niej brałem, a w szczególności odeprzeć zarzuty w rozmaitych poczynione mi pismach“ — Oto cel pamiętników Jenerała, określony jego własnemi słowami.

Autor poprzedza opowieść wypadków 31 roku krótką autobiografią — następnie poświęca dzieło jedynie tym zdarzeniom, w których czynny brał udział. Może najcenniejszemi są dodane przez autora po napisaniu właściwych pamiętników dokumenty i uwagi, rzucające nowe światło na niektóre poszczególne wypadki, nie pozbawione ciekawych, a zkądinąd nieznanych szczegółów. Przecież zbyt subjektywne zabarwienie w celu obrony własnej, pozbawia książkę poniekąd donioślejszej wartości historycznej, a język tu i owdzie chropowaty obniża jej wartość artystyczną.

* * *

* **Skarbczyk polski**, ułożony przez M. Ilnicką i Fr. Rawitę, wydany nakładem K. Kozłowskiego w Poznaniu 1895.

Jest to popularny wykład historyi polskiej, począwszy od dziejów bajecznych, kończąc na krótkim zarysie czasów porozbiorowych. Dziełko upiększone ulotnemi wierszykami M. Ilnickiej jest zupełnie przystępnem dla młodszej nawet dziatwy i odznacza się barwnem i żywem opowiadaniem. Wydanie zaleca się nadto licznemi i pięknemi illustracyami.

* * *

* **Swiatła i Kwiaty.** Myśli zebrane z utworów H. Sienkiewicza p. Mariusa. Nakładem K. Kozłowskiego. Poznań 1896.

Pod powyższym tytułem ukaże się niebawem książka, zawierająca celniejsze myśli z utworów autora „Bez dogmatu“, ugrupowane metodą rzeczową w sześciu obszernych rozdziałach. Dzieło to w kilkunastu arkuszach druku obejmie poglądy Sienkiewicza na miłość, małżeństwo, prasę, etykę, religią, sztukę i t. p., a ze względu na treść zajmującą i ozdobność wydania, zaleca się znakomicie jako podarek gwiazdkowy. Cena wydawnictwa na welinowym papierze, w gustownej oprawie, wraz z portretem H. Sienkiewicza wynosi 4 M.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Posłowie socyalistyczni stawili w parlamencie niemieckim nagły wniosek, domagający się zniesienia postępowania karnego przeciw posłowi Liebknechtowi, oskarżonemu o obrazę majestatu. — Według urzędowego spisu tak się przedstawia liczbowa siła stronnictw w parlamencie niemieckim: centrum 98, konserwatyści 60, Polacy 19, partya cesarska 28, narodowo-liberalni 49, stronnictwo reformy socyalnej 14, wolnomyślne stronnictwo ludowe 24, wolnomyślne zjednoczenie 13, stronnictwo ludowe 12, socyalno-demokraci 47, dzicy 26. — Wojna Włochów z Abisyńczykami wre w dalszym ciągu z podwójną energią. Crispi zażądał kredytu dla Afryki w wysokości 10 milionów lirów. — Nowy pruski minister spraw wewnętrznych pan von der Reke jest dotychczas dla prasy niemieckiej zagadką. Około osoby jego wszczęła się polemika zacięta, z której jedno tylko wynika bezsprzecznie, że następca ministra Köllera posiada bogaty zasób erudycyi na polu społeczno-politycznem i ekonomicznem, — Bismarckowskie organy prorokują ustąpienie kanclerza rzeszy p. Hohenlohego. — Liczba skazanych w Niemczech za przestępstwa kryminalne wzrosła w ostatnim roku z 430,000 na 446,000, a więc o 16,000. — Stronnictwo socyalistyczne w Niemczech urządza w najrozmaitszych częściach kraju zebrania protestujące przeciw wiadomemu rozporządzeniu ministra Köllera. — Z wynurzeń półoficyalnych organów wynika, że między niemieckim ministrem finansów Miquelem, a kanclerzem rzeszy Hohenlohem istnieją poważne różnice poglądów i wzajemny antagonizm.

Teatr i muzyka. W czwartek odegrano w teatrze poznańskim na rzecz kasy wkładkowo-pożyczkowej artystów zręczną komedyę Nagody p. t. „Uroki“, jednę scenę z tragedyi Słowackiego „Marya Stuart“ (zamordowanie Riccia) i wesołą komedyę Przybylskiego p. t. „Dzień w redakcyi“. Przedstawienie odznaczało się starannością wystawy i poprawną grą występujących artystów. Dokładniejsze sprawozdanie odkładamy do przyszłego numeru. Na lwowskiej scenie odegrano z powodzeniem czteroaktowy dramat Zielińskiego p. t. „Mira“. — Tragedya Ryszarda Vossa p. t. „Nowe czasy“ upadła w Berlinie. — W Monachium podobała się nowa opera Ryszarda Straussa p. t. „Guntram“. — Wielkie oratoryum Cezarego Francka p. t. „Les beatitudes“ sprawiło silne wrażenie w Lipsku. — Utalentowana artystka p. Marya Paszkowska opuszcza scenę poznańską od 1 stycznia i wraca do teatru krakowskiego. — Nowości operowe: Reinholda Beckera „Chwalba kobiet“, Godarda „Markietanka“ i Klughardta „Gudrun“.

Odpowiedzi Redakcyi.

Alef. Nowelka p. t. „Zuzia“ nie jest pozbawioną literackich zalet. Nie kwalifikuje się jednak dla pisma naszego. Radzimy zapukać do redakcyi któregokolwiek z dzienników poznańskich.

L. 10. Nie mamy zaufania do Berlina. Odpowiedniejszem wydaje nam się Drezno, ale radzimy w ocenie talentu nie spuszczać się na zdanie różnych ciotek, wujenek i małomiejskich dyletantów.

Zmarli:

Ludwik Teichmann prof. Akademii Jagiellońskiej, były wiceprezes Akademii umiejętności. Poświęcał się wyłącznie anatomii i zyskał uznanie uczonego świata.

Władysław Kulczycki, um. w Rzymie. Był korespondentem kilku dzienników warszawskich.

Bibliografia.

Teodor Jeske - Choiński. Rozkład w życiu i literaturze Warszawa 1895.

Teodor Jeske - Choiński. Na schyłku wieku. Studyum. Warszawa 1895.

Karól Miarka. 1) Kulturnik. Obrazek z życia ludu górnoszląskiego. Mikołów 1895. 2) Podróż po Wszechświecie. Popularne rozprawy o księżycu, słońcu, planetach i gwiazdach. Mikołów 1895. 3) Górka Klemensowa. Powieść oparta na podaniach ludu górnoszląskiego. Mikołów 1895.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 51. Poznań, niedziela 22-go grudnia 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **W Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen

Treść:

Od Redakcyi.

Na progu nowego roku odzywamy się do czytelników naszych z słowem podzięki i gorącą prośbą. Bieżący kwartał stał się dla nas wymownym dowodem, jak ta idea, która pismo nasze powołała do życia, mimo tysiącznych prześladowań i zawiści, rośnie i coraz nowych zdobywa wyznawców. Podwyższając przed trzema miesiącami cenę abonamentu, lękaliśmy się chwilami — czego nie taimy bynajmniej — że w opłakanych stosunkach materyalnych zaboru pruskiego zeszczupleć może liczba abonentów. Dziś jednak stwierdzamy z dumą i radością, że liczba ta urosła tak znacznie, jak w żadnym z poprzednich kwartałów. Zdobywamy jednę piędź ziemi po drugiej, kierunek nasz z dnia na dzień zyskuje nowe zastępy szermierzy, a obecnie nie opiera się już wyłącznie na inteligancyi miejskiej, lecz ogarnia coraz szersze koła przemysłowe i ziemiańskie. Zawdzięczamy to w pierwszym rzędzie żywotności idei przez nas reprezentowanej, ale zawdzięczamy również energicznej agitacyi czytelników naszych, których część znaczna nietylko bierną darzy nas sympatyą, lecz od domu do domu niesie nasze hasła, dążenia i przekonania. W uciążliwej i denerwującej pracy redakcyjnej ten krzyk zapału, to serdeczne przywiązanie czytelników i te z dniem każdym pomyślniejsze rezultaty działania są nam jasnym promieniem otuchy i ożywczem tchnieniem. Gdyby wobec zorganizowanej, dyszącej nienawiścią a bezwzględnej w środkach kontragitacyi przeciwników naszych nie było takich objawów czynnej miłości w szeregach tego stronnictwa, któremu służy „Przegląd Poznański“, to może nam powołanym na eksponowane stanowisko kierowników pisma ani sił by nie stało, ani wiary niezbędnej do walki. Więc tym, którzy stojąc przy sztandarze naszym torowali mu zwycięzko drogę w apatycznym i w mrokach reakcyi pogrążonem społeczeństwie, składamy słowa serdecznej podzięki, prosząc, by w Nowym roku z tą samą energią i męztwem nieugiętem zjednywali nam świeże zastępy czytelników. W naszych warunkach cicha kontemplacya nie zdobędzie jutra, — nam trzeba wyznawców-żołnierzy, abonentów-działaczy. Niech każdy z stronników naszych poczuwa się do obowiązku zyskać choć jednego czytelnika, jedno nowe ognisko idei postępowo-demokratycznej, a obóz „Przeglądu“ rozrośnie się niebawem do rozmiarów cyfry potężnej, wywierającej wpływ silny na rozwój życia narodowego.

Redakcya „Przeglądu Pozn.“ z swej strony dołoży wszelkich starań, aby pod względem doboru i barwności materyału politycznego i literackiego zadowolić nawet wybredne wymagania. Pochlebne opinie, wypowiedziane przez najwybitniejszych publicystów polskich i obcych o charakterze pisma naszego niechaj nam będą listem żelaznym, z którym przestępujemy próg nowego roku i do społeczeństwa pukamy. Równocześnie jednak poczuwamy się do obowiązku nadmienić, że uznanie pierwszorzędnych pisarzy i rosnące sympatye szerokiej publiczności skłoniły nas do wytężenia wszystkich sił, aby w przyszłym kwartale stanąć przed publicznością z nowym szeregiem współpracowników, którzy nazwiska swoją dobrze zapisali na kartach literatury i nauki ojczystej. Redakcya nasza zawarła mianowicie umowę z jednym z poważnych publicystów zaboru rosyjskiego, na mocy której ukazywać się będą w „Przeglądzie Poznańskim“

„Listy z Warszawy“,

czyli społeczno-polityczne kroniki życia zakordonowego. Dotychczasowa działalność tej nowej siły publicystycznej, która staje w szrankach pisma naszego, jest niewątpliwą gwarancyą, że „Listy z Warszawy“ odznaczać się będą ścisłością informacyi i objektywizmem krytyki, a tem samem wyróżnią się korzystnie z całej powodzi podobnych korespondencyi, zalewających pisma poznańskie i galicyjskie, a opartych niejednokrotnie na faktach zmyślonych lub szczegółach skrzyonych.

Oprócz tego znakomity publicysta pan *K. Bartoszewicz*, obiecał w dalszym ciągu zasilać „Przegląd Poznański“ kronikami galicyjskiemi, zapisanemi tak dobrze w pamięci czytelników naszych, — a równocześnie stają do szeregu wytrawni korespondenci z Berlina, Paryża i Londynu.

W dziale literackim i artystycznym znajdą czytelnicy „Przeglądu“ w nowym kwartale prace *Asnyka*, *Chmielowskiego*, *Tetmajera*, *Feldmana*, *Jabłonowskiego*, *Marrené-Morzkowskiej*, *Jellenty*, i wielu innych pierwszorzędnych literatów polskich, a grono naszych lokalnych i prowincyonalnych współpracowników rozszerzyło się przypływem nowych sił w dziedzinie społeczno-ekonomicznej.

Niemniej i dział powieściowy zapowiada się bardzo ponętnie dla czytelników naszych, bo zdobyliśmy oprócz przekładów najgłośniejszych utworów nowelistycznych cudzych pisarzów, kilka interesujących prac rodzimych autorów; w najbliższym już czasie rozpoczniemy druk cennej noweli *Ola Hanssona* p. t.

„Bezdomny“.

Nadmieniając wreszcie, że w zakresie spraw prowincyonalnych, a mianowicie miejscowej polityki i dyplomacyi liczyć możemy na pomoc bardzo poważnych źródeł informacyjnych, zwracamy się do czytelników naszych raz jeszcze z usilną prośbą, aby sympatyami swojemi nadal nas zaszczycać raczyli.



POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Jak dziwne stosunki i jak dziwny duch panują w niektórych polskich Towarzystwach zachodnio-pruskich, o tem świadczy następujący artykuł „Gazety toruńskiej“ p. t. „Bóle posedańskie“: (Nr. 288.)

„Swego czasu zamieściliśmy korespondencyę donoszącą, że pewien dostojny gość „Towarzystwo Przemysłowe w Nowem“, którego członkiem nie był, skłonił do wzięcia udziału w obchodzie sedańskim. Sprawa ta miała epilog wprost oburzający.

Oto ów gość urządził formalną nagankę na naszego korespondenta. Nie mogąc zaś niczego wykryć, przyszedł na posiedzenie a nawymyślawszy z góry autorowi korespondencyi i redakcyi, która ją przyjęła, zaczął członków jednego po drugim pytać, czy znają naszego korespondenta. Wszyscy odpowiedzieli naturalnie, że go nie znają. Tylko p. Znaniecki zeznał, że wie o autorze, ale nie widzi potrzeby, żeby go wymieniać. Skoro przecież okaże się potrzeba, autor sam się zgłosi. Tedy ów gość oświadczył, że tu widocznie istnieje tajny spisek. Słysząc to p. Znaniecki a nie chcąc innych narażać na podejrzenie o tajne spiski, przyznał, że on sam pisał do „Gazety Codziennej“.

Gość oznajmił zaś, że nie myśli bywać w Towarzystwie, które ma w swem łonie członków podchwytujących każde słówko i opuścił zgromadzenie, pochwaliwszy Pana Boga. Tylko do p. Znanieckiego zwrócił się mówiąc: „*Guten Abend, Herr Znaniecki*“.

Co dalej? Oto p. prezes, bardzo gorliwy sedańczyk zabrał głos i rzekł: „Panowie! Uroczystość sedańską święcił cały świat (?) jak najuroczyściej i wszyscy (?) brali w niej udział, tylko socyaldemokraci nie — a p. Znaniecki nas tak „poblamerował“.

Skutek przemowy był ten, że większość zbębnionych na zebranie członków sedańskiego ducha, p. Znanieckiego z Towarzystwa wykluczyła. Nie wstyd to dla niego, tylko dla owych sedańczyków, którzy widocznie bali się, aby p. Znaniecki, należąc do Towarzystwa nie przerobił na dzielnych wiarusów tych członków, którzy są dobrego ducha, ale na razie dali się zbałamucić.

Krzywdą wyrządzoną panu Znanieckiemu Towarzystwo przemysłowe w Nowem „zblamowało“ się przed całem polskiem społeczeństwem. Ta krzywda jeżeli rychło nie zostanie naprawiona, sprawi iż Towarzystwo prędzej czy później rozleci się na cztery wiatry.

Owemu dostojnemu gościowi zaś, który przy zakładaniu „Towarzystwa przemysłowego“ w Nowem oświadczył podobno, że do czysto polskiego Towarzystwa należeć nie może, a potem poszedł na jego posiedzenie tylko na to, żeby wśród zgodnego dotąd ludu wywołać kłótnie o niemieckie „juble“, możemy i dziś powtórzyć:

„Lepiej było siedzieć w domu!“

* * *

P. t. „Mieszczaństwo a Bank ziemski“ zamieszcza „Orędownik“ w Nr. 287 następujące uwagi.

Jest smutnym faktem, że mieszczaństwo nasze pod względem ofiarności patryotycznej i finansowego udziału w instytucyach publicznych stoi daleko po za szlachtą.

Powody tego smutnego objawu są dość naturalne; mieszczaństwo nasze jest majątkowo bez porównania słabsze. Dziś wszakże nie jest tak słabe, żeby w finansowych instytucyach naszych nie mogło zaznaczyć swego patryotyzmu, który już w sobie w dziejach porozbiorowych wyrobiło.

Prócz słabości majątkowej muszą być zatem jeszcze inne powody, sprawiające, że udział mieszczaństwa naszego w instytucyach finansowych jest tak mały. Z kół mieszczańskich nie tylko mało biorą akcyi, ale jeszcze ci, co je nabywają, nie czynią tego z głębokiego przekonania, lecz głównie z względów konwenansów towarzyskich i z spekulacyi.

W dość szczupłych kołach zamożniejszego mieszczaństwa, które zakupywanie akcyi naszych instytucyi narodowych uważa za obowiązek patryotyczny, za cnotę obywatelską, nia ma zgoła wiary do przedsiębiorstw przez szlachtę podejmowanych. Bez niechęci do szlachty, owszem z uznaniem dla pewnych zasług szlachty i jej ofiarności, mają te koła głęboko zakorzenione przekonanie, że co szlachta weźmie w rękę, to zepsuje.

To jest najrzetelniejsza część naszego mieszczaństwa, uczciwie pracującego i dorabiającego się i uczciwie myślącego o obowiązkach względem Ojczyzny.

Siedzibą tego mieszczaństwa jest tak Poznań jak prowincya; jest ono liczebnie zawsze dość szczupłe; składa się wyłącznie z samych dorobkiewiczów, których cechuje skromność. Już ta sama skromność wstrzymuje ich bardzo od udziału w projektach finansowych szlachty, a jeżeli biorą udział, czy z własnego popędu, czy skutkiem namowy drugich, to mówią między sobą wyraźnie że dają na przepadłe. Dają wtedy pieniądze, ale zdania swego nie zmieniają.

Apel p. dr. T. Szułdrzyńskiego, w tę stronę wysłany, zostanie prawdopodobnie bez skutku.

Obok tego koła mamy inne koło mieszczaństwa także zamożniejszego i światlejszego, idzie ono ręka w rękę z szlachtą i gdzie może, tam przystępuje do instytucyi finansowych. Ci wysuwają się naprzód, nie na to żeby dać, ale na to, żeby za to jeszcze więcej wziąć, innemi słowy, żeby na patryotyźmie zarobić. Niektórzy z nich mówią o tem bez ceremonii, a patryotyzm tylko dla cnoty, dla ofiary, bez zarobku lub widoków zarobku nazywa się w ich słowniku — „głupstwem“! Ich siedzibą jest także Poznań i prowincya. Ci podejmą odezwę dr. T. Szułdrzyńskiego i będą jej robili reklamę, — robiąc równocześnie reklamę także i sobie czy jednak pieniądze dadzą lub zdołają innych nakłonić do zakupienia akcyi Banku ziemskiego, to inne pytanie.

To mieszczaństwo potrafiło zaznaczyć swą egzystencyę i swe wpływy — przy nafcie galicyjskiej. Oni głównie wyciągnęli z społeczeństwa pół miliona marek. Jeżeli dziś z takiem przygnebieniem ducha patrzeć musimy na to, jak trudno wydobyć z społeczeństwa pół miliona marek na uzupełnienienie drugiej emisyi Banku ziemskiego, to między innemi przyczyną tego jest — nafta galicyjska. Myśmy już wówczas zwracali uwagę na to, że pieniądz ten należał się Bankowi ziemskiemu, tj. ratowaniu ziemi polskiej. Interes finansowy przy parcelowaniu wsi nabytych przez Bank ziemski w każdym razie nie przedstawiał gorszych zysków od nafty rymanowskiej. Żeby między tą naftą, a ratowaniem ziemi polskiej zorganizowanem w Banku ziemskim miał się kiedyś wykazać jakiś ściślejszy związek, o takiej — drobnostce nikt u nas nie myślał i nie myśli.

Powiedzmy sobie przynajmniej to jedno, że na polu finansowych przedsięwzięć prowadzimy często — gospodarstwo rabunkowe. Nafta rymanowska zrabowała społeczeństwu pół miliona i dziś właśnie o te pół miliona tak trudno dla Banku ziemskiego.

Obok tych dwóch kół zamożniejszego mieszczaństwa, któreśmy wyżej scharakteryzowali, mamy jeszcze całą masę ludzi uczciwie myślących, u których znalazłoby się trochę grosza na instytucye publiczne. W tych kołach trzymają się instynktem zasady, wypowiedzianej w „Przeglądzie Poznańskim“, że na akcye publiczne należy dać tylko ten pieniądz, którego w własnem gospodarstwie nie będziemy potrzebować. Koła te patrzą na owoce naszych przedsięwzięć finansowych, a owoce te nie budzą w nich wielkiej wiary, ani wielkiego zaufania. Nasze instytucye finansowe nie potrafią też wychowywać — że się tak wyrazimy — cnót obywatelskich w publiczności.

* * *

Uwagi wypowiedziane w poprzednim numerze „Przeglądu“ z powodu tłumienia osobistej inicyatywy w różnych zakresach zawodowego życia i sprowadzania wszystkich działań do jakichś powag lub centr, powtórzył „Orędownik“ w Nr. 289, zwracając z swej strony uwagę na ich słuszność i doniosłość. Artykuł „Orędownika“ kończy się w słowach następujących

„Piszemy o tem, żeby Czytelnikom naszym zwrócić uwagę na potęgę osobistej inicyatywy w świeckich sprawach narodowych, bo ona jest rzeczywistą sprężyną życia. Ta siła jest dziś u nas spętana, a wszystko nagli, żeby te pęta rozwiązać, a jak nie inaczej, to rozkuć. Niech życie między nami wszędzie tryska, im liczniej, tem lepiej dla naszej narodowości. Łatwiej nam się będzie przy tem organizować i to nie będzie także przeszkodą, żeby obywatelom długoletniej pracy wytrwałej, rzeczywistym zasługom i powagom oddać uznanie i cześć, jaka im się należy“.

* * *

Ksiądz Piotr.

Szkic

przez **Kazimierza Tetmajera.**

Rzecz, nagrodzona pierwszą nagrodą na konkursi literackim „Czasu“.)

(Dokończenie.)

— A czyś to nie próbował?

— A Pombók?

— A Pan Bóg jest też dobry.

— Jesce lepsejscy?

— Nie, jednako, jednako.

— A wielki je Pombók?

— Taki, jak i Pan Jezus.

— Jegomość!

— A co?

Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.

— Dobrze, dobrze, chodźmy.

— No, to pódźcie. Dojcie renke. Pomalućku, boście starzy.

— I Ignaś brał za rękę księdza Piotra i szli razem ścieżką ku plebanii, rozmawiawiając po drodze dużo i seryo.

Zajęty służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, — ksiądz wikary bowiem, studyujący dniami i nocami dzieła teologiczne, małą był mu wyręką, — nie miał ksiądz Piotr wiele czasu myśleć o śmierci, tem bardziej, iż zawsze zapowiadał, że od setki ani dnia Panu Bogu nie opuści. Ale pewnego jesiennego wieczora, kiedy słońce zaszło, ostatnie fioletowe plamy kładąc na ciemnem niebie, ksiądz Piotr, który długo przedtem siedział w milczeniu na ganku od ogrodu, zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu naprzeciw organiście i rzekł poważniejszym niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dzięgielewski mnie się zdaje, że trzeba iść.

— A dokąd, że śmiem zapytać?

— Dalej, niż ztąd do kancelaryi parafialnej. Tam... i pokazał ku bielącemu się opodal murowi cmentarnemu.

Dzięgielewski żachnął się:

— A co też ksiądz kanonik dobrodziej wygaduje. Po prawdzie, żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi, pfe! Jeszcze można w złą godzinę.

— No, zobaczysz, panie Dzięgielewski, organisto kłoniecki, że mnie już trzeba iść. Już czas, już i tę trzynastkę Panu Bogu odstąpić muszę.

— O, o! Wolałby jegomość nawet nie wymawiać takich przykrości.

— E, już i czas. Spowiadałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunię przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze posłać można będzie, ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad „Summą teologiczną“, albo „Naśladowaniem Chrystusą“ będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mnie, starego bajdę.

Od pól szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesienne i słychać było cichy, jednostajny szum wiatru.

— Panie Dzięgielewski — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

— Słuchaj waść, ale nie mnie, tylko świata. Słyszysz, jaki to szum? Wydaje mi się, że słyszę obrót całej tej wielkiej maszyny, której Bóg jest budowniczym i maszynistą wiecznym, Kręcą się na osiach planety i słońca, wszystko idzie po swoich drogach i szumi. Cały świat szumi. A On budowniczy i maszynista wieczny słucha i raduje się. Pomyśl tylko, panie organisto kłonicki, Mateuszu Tymoteuszu Dzięgielewski, herbu cykorya, jaki to ogromny i cudowny szum być musi! Ty myślisz, że jak wiatrak Kuby Michałowego z Zardzawicy, a to jak tysiąc, milion takich wiatraków. Ho! ho! Jak wszystkie fale Atlantyku i wszystkie wichry Sahary razem wzięte. Słuchaj tylko...

— Słucham księże kanoniku.

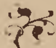
— Słyszysz?

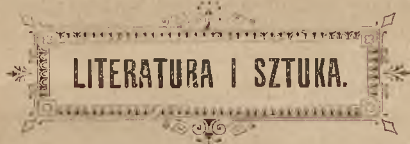
— Słyszę, jak wiatr w ogrodzie szuści

Warszawski tygodnik „Głos“ (Nr. 11) zamieszcza następujące uwagi z powodu sojuszu Polaków z niemieckiem stronnictwem centrum:

„Powtarzamy, że w danych warunkach sojusz ten był koniecznym, pożądanym i korzystnym. Warunki się zmieniły, ale i dzisiaj nawet niema żadnej potrzeby zrywać łączności z centrum, a tymbardziej występować przeciw kościołowi katolickiemu. Powinni tylko politycy polscy w Prusiech pamiętać, że stronnictwo katolickie jest zarazem stronnictwem niemieckiem i że wspólne z niem działanie musi mieć zakres bardzo ograniczony. Sprawy szląskie mogą w blizkiej przyszłości przyjaźń tę na próbę poważną wystawić i tak poplątać nici, łączące dwa stronnictwa, że wypadnie je zerwać lub rozciąć. Kiedy stosunek przyjazny zaczyna chłodnąć, najlepiej wzajemne zobowiązania zawczasu zlikwidować i przyjąć tak obojętny tryb postępowania, któryby zatargom pomiędzy stronami zapobiegał, gdyż niema zaciętszych wrogów, jak zwaśnieni sojusznicy.

Lojalnego sprzymierzeńca należy przy zdarzonej sposobności uczcić szczerze i życzliwie, bo na to ze wszechmiar zasłużył. Ale ani pamięć o wspólnych walkach, ani uczucie wdzięczności nie mogą być podstawą sądów politycznych, a tymbardziej działalności politycznej“.





Dochody artystów i ceny dzieł sztuki.

(Ciąg dalszy).

Artysta, tworząc obraz, gra w loteryę. Koszta na stworzenie jego ponosi na pewno, czy jednak obraz ten mu się uda, tego już nie może przewidzieć, a czy go sprzeda, to może być tylko zaledwie przypuszczalne. W tych warunkach pracując, słusznemby było, gdyby żądał za obraz sumy kilkakrotnie większej od kosztów i pracy w niego włożonej, co mogłoby ową niepewność i ryzyko zrównoważyć.

Ryzyko to powiększa się jeszcze z powodu możliwego wyczerpania sie talentu, co sprawia, że artysta po namalowaniu kilku dobrych płócien, zaczyna malować coraz to gorsze i tu chwilowa nadzieja dobrobytu i sławy bezpowrotnie przepada. Takie zamieranie talentu jest powszechną regułą, wymagającą, żeby talent rozwijał się, dochodził do swego zenitu i następnie gasł, o ile temu upadkowi śmierć nieprzetnie wątku. Wyczerpanie takie talentu zwykle idzie w parze z wyczerpaniem fizycznem, czyli starzeniem się. Literaci, szczególniej sławni powieściopisarze, gdy pod starość coraz słabsze rzeczy poczynają tworzyć, które też mniej im dochodu przynoszą, ciągną jeszcze zyski z nowych edycyi dzieł, pisanych w młodości, gdy talent ich najsilniej błyszczał. Dochody te spadają nawet na spadkobierców. Artysta z chwilą, gdy obraz sprzeda, nie ma żadnej możności ciągnąć zeń dochodów, słusznie więc, że jednorazowa cena sprzedażna wyrównać to powinna.

Niestety, wszystkie te wywody są bardzo piękne i słuszne na papierze, rzeczywistość jednak nie chce się z niemi liczyć i można powiedzieć, że im bardziej jest obraz dziełem sztuki, im był kosztowniejszy dla artysty, tem mniej mu daje dochodu, a najczęściej nawet o straty przyprawia. Przeciwnie, tę mizerną równowagę budżetu, jaką artysta zdoła utrzymać, trzeba przypisać zwykle tym drobnym tuzinkowym pracom i obstalunkom, którym musi się chwytać wbrew swej woli i popędom. I takie jednak roboty nie zawsze są intratne! Jako przykład podam tu zdarzenie, które miało miejsce w Paryżu, a które bynajmniej do wyjątków, ani tam, ani u nas nie należy.

Jeden z malarzy, cieszący się już pewnym rozgłosem, cztery dobre studya pejzażowe, malowane na odpowiednio spreparowanych deseczkach, za które sam płacił po 3 fr., zmuszony był, będąc w chwilowej potrzebie, sprzedać razem z malowidłami, ryczałtowo za 10 fr., to jest o 2 fr. taniej, niż go same deski kosztowały!...

W akademii monachijskiej nie jest żadną nadzwyczajnością, gdy student, malując przez miesiąc wielkie studyum, oddaje je potem za takiej samej wielkości czysty blejtram, który mu jest do następnego studyum potrzebny.

Żeby jednak pocieszyć naszą polską publiczność, przytoczę im fakta, które dowiodą, że nietylko w naszym biednym kraju trudno artystom koniec z końcem związać.

Zdawałoby się, że artysta, od którego, dajmy na to, rząd francuzki nabywa dzieło do jednego z muzeów narodowych i płaci tysiącami franków, że artysta ten po za zaszczytem, jaki go spotyka, robi jeszcze wspaniały interes. Niestety, tak nie jest i powtarza się to samo co u nas, że gdyby nie drobniejsze prace, mniejsze obstalunki od zwykłej publiczności, to artysta musiałby bez butów za ten zaszczyt dziękować. Różnica tylko stosunków w porównaniu z naszemi jest ta, że tam wielkie dzieła, choć ze stratą, ale sprzedają artyści, gdy u nas nawet tej nadziei nie mają, i następnie, że mniejsze prace o wiele lepiej publiczność płaci, niż nasza, i że jakieś pięć lub sześć tysięcy marek za obraz nie jest tam ceną wygórowaną, któraby prywatnego nabywcę miała odstraszyć. U nas tymczasem kartka z ceną kilku set, przyczepiona do większego obrazu, już czyni, że obraz wraca do pracowni artysty. Trudno, nie cała wina spada na naszych wielbicieli piękna, boć i oni koniec z końcem związywać muszą.

Tymczasem z tych danych, jakie mam pod ręką, postaram się podać czytelnikom co ciekawsze.

Na wstępie muszę objaśnić, że w Paryżu nie ma stałych wystaw sztuki[1]). Ów „Salon“, (a obecnie dwa), otwiera nam swe podwoje co rok na dwa tylko miesiące. Artyści przez rok cały, a czasem i dłużej pracujący nad wykończeniem swych dzieł, spieszą się aby je na termin do Salonu dostarczyć. Odpowiednie komisye dzieła te klasyfikują i mnóstwo odrzuciwszy, jakąś trzecią, lub czwartą część zatrzymują, a i tak zapełniają tą cząstką obrazów blizko trzydzieści wielkich sal malarstwa na I-em piętrze, a na parterze ogromną przestrzeń ogrodu zimowego mnóstwem rzeźb, tak że katalog zawiera około 4000 wystawionych dzieł sztuki. Co rok figuruje w budżecie państwa pewna suma na zakup wybitnych dzieł do zbiorów narodowych i zakupy te czynione są z prac wystawionych w „Salonie“. Pewną sumę na ten cel przeznacza również i miasto Paryż. Istnieje też stowarzyszenie przyjaciół sztuki, które zakupuje bardzo wiele, aby po-

[1]) Nie liczę tu naturalnie muzeów, gdzie zgromadzone przez rząd obrazy i rzeźby całe lat dziesiątki wiszą bez przerwy.

— A tego szumu świata, tej maszyny ogromnej nie słyszysz?

Nie, z przeproszeniem księdza kanonika dobrodzieja.

Ksiądz Piotr pomilczał chwilę, a potem znowu zaczął mówić:

— Odsuń, mości organisto, tę szybę od północy. Niech jak najwięcej zapachu z pola wejdzie. Tam, jak tam... może być, jeśli Bóg miłościwy, i światło prześliczne i chóry anielskie i wonie rajskie mogą być i wszelki cud, ale przecież kłonickich pól nie będzie, nie będzie tego zapachu z mego parafialnego ogrodu.. Wieczność jest długa, ale i pięćdziesięciu lat też pies nie przeskoczy.. Te młode wiązy każesz podeprzeć, a żeby grusze dobrze na zimę słomą owinęli... Ho! ho! Takiego zapachu nie będzie... Mości panie Dzięgielewski, ja byłem w Ziemi Świętej i w Arabii i we włoskich pomarańczarniach, a takiego zapachu jak u mnie w Załanach dawniej, a potem tu w Kłonicach, nigdzie nie było. Panie Dzięgielgwski!

— Do usług księdza kanonika.

— Czy to już miesiąc wschodzi?

— Niby.

— Jasny jest? Bo mi się źle w tamtą stronę oglądać.

— Jasny.

— To chwała Bogu. Nie chciałbym w niepogodę umierać.

— Uu, co też to ksiądz kanonik...

— Cicho, panie Dzięgielewski, organisto, cicho. Miesiąc poświeci duszy, jasnym gościńcem pójdzie. A i dobrze, jeśli z ganku. To prawie tak jakby z pola. U nas w rodzie mało kto na łóżku gasł. W polu gaśli. Dobrze, że się skończyli, bo kto wie, coby z nimi było, tak jak z innymi. Kotu na łódź szlachectwo bez szlachetności w duszy. Tak, panie Dzięgielewski.

— Słucham księdza kanonika.

— Ubierzesz mnie w nową sutannę, tę na jedwabnej podszewce, pasem jedwabnym przewiążesz, szpilką złotą z Korabiem przepiąć, buty nowe wyglansować, łańcuch kanoniczny na szyję, o dery moje wojskowe na pierś. Sygnet zostawić na palcu, niech idzie ze mną. Obsypiesz mnie kwiatami, dużo macierzanki, bo pachnie, narcyzy w głowach. I szablę moją, mości Dzięgielewski, złamać, bo jestem z rodu ostatni... Cóż to, ty buczysz, panie Dziegielewski?

— U-u-u... bo ksiądz kanonik tylko mi serce kraje...

— Albo wiesz co, panie Dzięgielewski, szabli łamać szkoda, ale mi ją cicho, żeby ksiądz wikary nie widział, pod sutannę we fałdy włożysz. W rękach krzyż, nibym ja tylko ksiądz, ale tam pod bokiem szabla... Czujesz, jak z mego ogrodu pachnie, panie organisto?

— Czu-czuję... księże kan-n-noniku dobrodzieju...

— Testament jest tam w biurku. Wszystko w porządku. A żebyś mi ty zawsze, panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na sieroty i na kaleki, na zwierzyniec, na Marcina i na Zagraja. Wszystko ma być jak było, póki nie wymrze, albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serce dla całego świata. Sarnie bez kozy takiej prawie litości warte, co i dziecko małe. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkiem wie. Panie Dzięgielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

— Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawy chleb da, bo niemi ostatni Załański jeździł. Mój dziad pannie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielon, srebrny imbryczek z ręki wystrzelił, a potem do nóg jej padł i ona była moją babką. Ztąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. Strzałę woźmie porucznik Kotwicz, to kawaleryjski koń. Może da Bóg, jeszcze obaj nie tej trąbki będą słuchali, co dzisiaj. Ho! ho!... Fajkę z Maryą Antoinettą i kałamarz bronzowy z Napoleonem także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład

tem rozlosować między swych członków, są handlujący obrazami, ludzie obracający czasem milionowemi kapitałami, którzy nabywają, aby następnie z zyskiem odprzedać, jest wreszcie wielu bogatych Francuzów i cudzoziemców, którzy nabywają dzieła sztuki, nie targując się o kilkaset franków.

Mimo to większość dzieł powraca do pracowni ich twórców, a dwukrotnie tego samego obrazu nie wolno wystawiać w Salonie. Artysta więc woli zwykle sprzedać swą pracę za jakąkolwiek cenę, niż zabierać z powrotem do pracowni obraz, mający 20 metrów kwadratowych, lub kolosalną rzeźbę, które kosztowały wiele pracy i pieniędzy. Szczególniej gdy dzieło posiada znaczne rozmiary, artysta może mieć nadzieję sprzedania go tylko rządowi do jakiego muzeum, boć o prywatnym nabywcy nie można marzyć wtedy. Rząd nie rozporządza na ten cel wielkiemi funduszami i płaci możliwie najmniej, obdarzając za to artystę zaszczytem, że dzieło jego stało się własnością narodową.

Publiczność, dowiedziawszy się, że jakiś artysta za ogromny swój obraz lub rzeźbę dostał dwadzieścia, trzydzieści, a nawet pięćdziesiąt tysięcy franków, z zazdrością spogląda na bohatera, który za kilka metrów płótna i trochę farb, albo za kilka worków gipsu i kilka brył gliny dostał sumę równającą się pensyi rocznej ministra. Nieźle każe za swą pracę płacić — myślą sobie — i nic dziwnego, że artyści mogą robić kolosalne fortuny.

Zobaczmy zblizka, o ile ten vox populi jest trafny i weźmy kilka danych, tyczących się najsławniejszych artystów francuzkich.

Malarz Roll, kilka lat temu, namalował obraz p. t. „la Femme au taureau“. Obraz był średnich rozmiarów i przedstawiał tylko dwie figury. Ażeby ostatecznie zdecydować się na układ i opracować kompozycyę, Roll zrobił ze setkę małych studyów, bądź malowanych, bądź rysowanych. Nie licząc kosztu materyałów i straty czasu i biorąc przeciętnie tylko jeden dzień modela do każdego szkicu, przy zwykłej w Paryżu cenie modeli, wynoszącej za cały dzień pozowania 10 franków, wypadnie, że jeszcze przed rozpoczęciem właściwego obrazu, same modele kosztowały Rolla najmniej 1,000 franków.

Lecz weźmy inny obraz tegoż artysty daleko większych rozmiarów, p. t. „Grève de mineurs“ (Zmowa górników). Roll przepędził najprzód 6 tygodni w Anzin, miejscowości górniczej, aby porobić mnóstwo szkiców i zapoznać się z przedmiotem. Naturalnie, że do szkiców musieli mu pozować górnicy, którym trzeba było płacić jako modelom. Powróciwszy do Paryża, zaczął szkicować właściwy obraz, posługując się modelami z profesyi, ale ci zupełnie się nie nadawali na górników z postawy, ani z wyrazu. Chcąc więc mieć prawdziwe typy, Roll pojechał powtórnie do Anzin i sprowadził sobie do Paryża całą rodzinę górników, którym dał całkowite utrzymanie i płacił za pozowanie.

Przy malowaniu obrazu p. t. „le Chantier“, Roll przez długi czas trzymał trzech czy czterech rzemieślników: kamieniarza, mularza, cieślę, jako stałych modeli, którzy mu często musieli pozować jednocześnie.

Aby mieć pojęcie, wiele kosztują same materyały, nie licząc już kosztów modeli, dość powiedzieć, że do obrazu „Le 14 Juillet“ (dzień święta republikańskiego), samo płótno kosztowało około 1000 franków, a farb wyszło za 3 do 4 tysięcy franków. Lekko licząc, obraz ten kosztował samego artystę około 30 tysięcy franków. „La Grève des mineurs“ kosztowało podobnąż sumę, a rząd kupił ją za 3 tysiące franków.

Weźmy innego artystę, Georges Bertranda, którego „la Patrie“, znajduje się w muzeum leksemburskiem. Obraz tego artysty p. t. „le Printemps qui passe“, przedstawiający kobiety galopujące konno na tle słonecznego pejzażu, kosztował artystę około 50 tysięcy franków.

(Dokończenie nastąpi).



Zdania pisarzy francuzkich o Aleksandrze Dumasie (synie).

Jak czytelnikom naszym wiadomo, w ostatnich dniach listopada zmarł nagle, po kilkodniowej chorobie, Aleksander Dumas — syn, mając lat 71. Dzienniki paryzkie, wszystkie bez wyjątku, poświęciły znaczną część swych szpalt uczczeniu literackich zasług zmarłego, oraz pomieszczeniu interwiewów, w których najwybitniejsi pisarze francuzcy wypowiedzieli o nim swe opinie. Podajemy z nich wyjątki, jako najcenniejsze i najciekawsze streszczenie roli, jaką odegrał za życia Aleksander Dumas-syn.

Juliusz Simon: Historya życia Aleksandra Dumasa-syna daje się streścić w słowach: pisał, i jako autor doszedł do wielkiego znaczenia. Nomenklatura książek i utworów scenicznych, które napisał, opowiada i starczy dla przypomnienia jego tryumfów. Mając lat siedemnaście, zaczął od pisania wierszy, a następnie starał się naśladować powieści tworzone przez swego ojca. Lecz te młodzieńcze próbki talentu nie wchodzą w rachubę prac później dokonanych. Wcześnie spostrzegł się, że nigdy nie dorówna ojcu polotem fantazyi, uczynił więc zwrot i zaczął opisywać świat, który widział, wśród którego żył, to jest świat teatru i półświat. Mając lat 24, napisał powieść: „La Dame aux Camélias“ i odrazu stał się sławnym prawie na równi z ojcem. W parę lat później przerobił tę powieść dla sceny, a wiadomo, iż powodzenie tej sztuki trwa dotychczas, pomimo że po raz pierwszy wystawioną została blizko przed pół wiekiem.

Franciszek Copée. Dziś Francya opłakuje jednego z najwybitniejszych swoich synów, a przecież tak niedawno, przed kilku dniami, tylu z nas go widziało, pełnego jeszcze zdrowia podczas uroczystości odsłonięcia pomnika Emila Augier! Narzekał co prawda, iż jest nieco osłabiony, lecz któż z nas mógł się domyślać, że widzimy go po raz ostatni! Przed laty, niejednokrotnie przeciwstawiano tych ludzi obdarzonych najświetniejszym talentem; Emila Augier uważano za rywala Aleksandra Dumasa. Słusznem też było, aby autor „Demi-monde'u“ uświetnił swą obecnością uroczystość odsłonięcia pomnika autora równie głośnej sztuki jak „Le gendre de monsieur Poirier“. Są to dwa arcydzieła, najdoskonalsze dokumenty sztuki dramatycznej, odzwierciadlające współczesne nasze społeczeństwo. Rzec można, iż Aleksander Dumas padł w pełni swego tryumfu. Obecnie bowiem, nawet te jego utwory, które na razie oburzyły znaczną część krytyki, doczekały się właściwego ocenienia i uznania. Do takich zaliczyć należy:

---

wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem testamentem dwa buhajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tam to i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę szyldkretową z rubinem, żebyś o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu, uu, księże kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przedemną waść, nie całuj mię po kolanach, fe, wstyd, wszyscyśmy równi. A że ja mam więcej, to ci daję. Tak być powinno i koniec. A nie bucz tak, panie Dzięgielewski, bo ludzi pobudzisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać.. A tak przecież dziwnie... Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... Ta jutro może już człeka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy spadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiędło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa... Marność marności jest człowiek i nietylko marność... Rok, dwa, będą pamiętali, potem zapomną. Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomniał... O resztę nic!

— Jak mi się też żywo przypomina, jakem to pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby, jak i dzisiaj, rozłożyste i szumiące. Lat 50, pół wieku z górą.. Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosła, a przecież będzie... Tyle lat. Com ja tu chrzcił, com tu pochował... O, jak to jasno.

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła wymykać się światłość, cicha i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru, poruszając liśćmi, jakoby przymykał i odchylał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dzięgielewski, któremu grube łzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Niema co, niema co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie.. Nigdym się niczego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże bądź miłościw mnie grzesznemu... *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa!* A i krew jest na mojej duszy...

Opuścił jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dzięgielewski, jak odśpiewają *Requiescat in pace* każesz ze wszystkich moździerzy parafialnych huknąć... Pamiętam, w Olsztynce leci na mnie oficer dragoński, jak go chlasnę! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dzięgielewski. Poprawno ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

Poczem ksiądz Piotr przymknął powieki i począł drzemać, ale organiście się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej i że oddycha coraz słabiej i słabiej. Trwało to czas jakiś, aż się pan Dzięgielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać pannę Capikównę, gdy zegar uderzył dwa razy na wpół do dziesiątej i w drzwiach, wiodących z sieni do ganku, ukazał się mały Ignaś Znajda w koszulinie i płóciennych majteczkach. Podszedł on ku fotelowi księdza Piotra, i pociągnąwszy go lekko za sutannę, ozwał się:

— Jegomość! Pódźcie! Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość szli spać Pódźcie, dojcie renke! Pomalućku, boście starzy. Jegomość!

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się, ani nie odpowiedział, wówczas Ignaś podniósł wielkie oczy na pana Dzięgielewskiego i spytał:

— Panie organisto! cy jegomość pomerli?



„L'ami des Femmes“. Jestem zdania, iż gdyby kto zechciał powycinać aforyzmy, anegdotki, oderwane filozoficzne poglądy i pełne dowcipu, oraz głębokości orzeczenia, których nieprzebrane bogactwo znajduje się w utwo-tworach Aleksandra Dumasa, zebrałaby się książka nieustępująca wartością sławnemu zbiorowi „Maksym,“ naszego starego de la Rochefoucauld. Tak, wraz ze śmiercią Aleksandra Dumasa następuje pewnego rodzaju zaćmienie na niebie literatury dramatycznej. Był on najpotężniejszym z pomiędzy współczesnych autorów piszących dla teatru. Pogardzał on drobnemi sposobikami, jakich używają tak chętnie inni jego koledzy. Akcya w jego utworach toczy się żwawo, monologi są pełne ognia i rąbią jak mieczem, a dyalogi błyszczą dowcipem i zręcznością wspartą na logice. Wywołane przez niego postaci żyją, stają się typami charakterów, jakie autor chciał zarysować. Aleksander Dumas jest nietylko malarzem obyczajów współczesnych, lecz zarazem szermierzem stającym w obronie takiej lub innej tezy, będącej zawsze palącej doniosłości. Większość jego utworów przejdzie do potomności, zapewniając mu istną nieśmiertelność w dziejach literatury francuzkiej. Lecz jakże okrutną śmierć dla nas się okazała w przeciągu dwóch lat ostatnich! Któż zajmie miejsca opuszczone przez takich ludzi, jak: Taine, Renan, Leconte de Lisle, Pasteur, Aleksander Dumas?! Młodzieży! dość już bawienia się w dyletantyzm, w zamglone rojenia, w czczą muzykę słowa. Do pracy, do szeregu! Podtrzymajcie chorągiew, by Francya zawsze przodować mogła w świecie idei!...

Alfons Daudet. Osobiście nie często zdarzało mi się spotkać z Aleksandrem Dumasem, a zwłaszcza mało go znam jako człowieka. Przypominam sobie, że podczas obiadów u wspólnego naszego przyjaciela Labiche'a, sadzano nas obok siebie, bo działaliśmy na siebie podniecająco, zebrani bawili się iskrami naszego humoru. Lecz jakże to drobiazgowe, nic nie znaczące wobec dramatu śmierci! Dumas, Augier — te dwie jasne pochodnie literatury dramatycznej zgasły na zawsze!... Dumas wywierał na mnie szczególniejsze wrażenie człowieka zawsze gotowego do walki na słowa. Ilekroć go spotkałem, natychmiast ogarniał mnie zapał do dysputy z tym świetnym dyalektykiem, którego poglądy były antypodami moich. Naprzykład podnietą dla mnie do walki z nim, była jego nienawiść względem Goethego. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jakim sposobem mógł on zaprzeczać genialności Goethemu?... Również niezrozumiałym dla mnie był jego pogląd na stosunki rodzinne. Ja, bardzo może po parafiańsku, lecz nadewszystko miłuję dom i rodzinne ognisko domowe. On zaś był wyzwolony z tej ciasnoty pojęć i to mnie w nim raziło. Był on pod tym względem czystej krwi Paryżaninem. Przypominam sobie, że kiedyś ostrą miałem utarczkę z Gambettą z powodu Aleksandra Dumasa. Gambetta miał urazę do Dumasa, że ten go nazwał „un Gaudissart politique“[1]) Dowodziłem Gambecie, iż powinien stać wyżej po nad obrazę za taki przydomek. Był czas pewien w mojem życiu, że dość często spotykałem Dumasa w różnych salonach. Otóż zauważyłem, że miał manię próbowania tam efektów czwartego aktu swoich sztuk dramatycznych. Opowiadał jako o fakcie z życia treść utworu, który pisał. Pani X. znajdowała się oto w takiem położeniu. Wtedy pytał: „Cóż państwo o tem sądzicie? Jakie będą tego skutki? I czekał, czy może wśród danych odpowiedzi nie znajdzie się jaka nowa myśl, mogąca mu podsunąć kombinacyę, jakiej szukał...

Emil Zola. Nie podobna w kilkunastu zaimprowizowanych słowach określić wybitne stanowisko, jakie Aleksander Dumas zajmuje w współczesnej literaturze francuskiej. Na dziś więc powstrzymuję się od wydania mej opinii w tym względzie, lękając się wygłoszenia sądu bez należnej rozwagi. Natomiast rzec o nim coś mogę jako o człowieku. Są to moje czysto osobiste wspomnienia. Przed paru dziesiątkami lat, będąc jeszcze młodym, wystąpiłem z całą seryą artykułów ostro rąbiących tych i innych starszych odemnie pisarzów. Była to z mojej strony napastnicza walka przeciwko manierze literackiej, ujętej w karby reguł. Między krytykowanymi przezemnie autorami był także Aleksander Dumas. Otóż zdarzyło się, że gdy postawiłem po raz pierwszy moją kandydaturę w Akademii francuzkiej, pomiędzy nielicznymi głosami za mną był i pozostał zawsze Aleksandra Dumasa. Przy spotkaniu zaś, w kółku wspólnych znajomych, człowiek ten, wprost przeciwnych ze mną dążności literackich, rzekł do mnie ze szczerą życzliwością: „Miałeś pan racyę napisać o mnie to, co napisałeś, bo był to wyraz pańskich przekonań, a proszę wierzyć, że otwarcie się zaliczam do wielbicieli dzieł, które pan tworzysz“.

Juliusz Claretie. Wszyscy my piszący jesteśmy synami Wiktora Hugo pod względem stylu, synami Balzaca jako powieściopisarza, a synami Aleksandra Dumasa jako autorowie dramatyczni. Nie wiem, co sądzi o Aleksandrze Dumasie młode pokolenie pisarzów francuzkich, lecz dla moich rówieśników był on i pozostanie nauczycielem i mistrzem. Augier jest ostatnim naszych klasyków w teatrze, a Dumas jest naczelnym wodzem następującego potem zwrotu. Jego dramat: „La Dame aux Camelias“ równe ma znaczenie w literaturze z „Cydem“ Corneille'a. Każdy z tych utworów oznacza datę w historyi naszej literatury. Nieodżałowaną pozostanie szkodą, iż nie zdołał wykończyć ostatniego swego dramatu: „La Route de Thèbes“. Jeszcze niedawno, przed kilku tygodniami, mówił mi: „Gdybym umiał pracować z dawniejszą moją energią, wykończyłbym „La Route de Thèbes“ w jakie dni cztery, lecz nie wiem, kiedy je znajdę“. Rad jestem, że doczekał się zwrotu opinii publicznej względem „L'Ami des Femmes“. Ciesząc się powodzeniem, jakiego doznała ta sztuka niedawno wznowiona w teatrze „Comedie française“, rzekł do mnie: „Gdyby nie to dzisiejsze przedstawienie, ogół publiczności byłby zawsze sądził, że „l'Ami des Femmes“ jest sztuką bez najmniejszej wartości“.

Pani Doche (była artystka dramatyczna, która podczas pierwszego przedstawienia sztuki „La Dame aux Camélias“ występowała w roli Małgorzaty Gautier). Tak, to ja stworzyłam rolę Małgorzaty Gautier! I dumną jestem, że moje nazwisko jest złączone z tą pamiętną datą w historyi teatru! Ta rola damy kameliowej jest najświetniejszem wspomnieniem mojej karyery artystycznej. Rok 1852 jest rokiem dla mnie pamiętnym i był takimże dla Aleksandra Dumasa, bo równocześnie pozyskaliśmy sławę: on jako autor, ja jako artystka! Tyle lat od naszego tryumfu minęło, a corocznie w dniu owym pa-

[1]) Gaudissart, typ commis-voyageura; w popularnem znaczeniu „gaudissart“ jest to człowiek wygadany, pyszałkowaty, blagier, paliwoda

---

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Gdy więc Franek skończył bardzo dobrze czwartą klasę, poszła matka Smolarzowa do księdza proboszcza po radę; a że to „ślachcianką“ z domu była, więc jęła szeroko rozprawiać, że Franka trzeba koniecznie na większego wyprowadzić człowieka; oczywiście, że największym dla niej człowiekiem na świecie był sam jegomość.

Proboszcz, wytłómaczył gadatliwej kobiecie, że lepiej uczyni, jeżeli o tem myśleć przestanie; opowiedział szczegółowo ile to nauki potrzeba nim się sutanny człowiek doczeka, ile zachodu i kosztów ze strony rodziców — wreszcie doradzał, aby chłopaka oddała do rzemiosła.

Ale jakież rzemiosło znaleźć można we wsi? jest tu kowal, stelmach i koniec na tem.

— Więc niechaj będzie kowalem — zgodziła się Smolarzowa z westchnieniem.

Franek jak pilnym i pojętnym był uczniem w szkole, tak też gorliwym i sumiennym okazał się pracownikiem przy kowadle. Do trzech lat nietylko, że umiał równo dać miechem i obracać wielkie szczypce z rozrzażonem żelazem w takt uderzeń majstra, ale też sam to i owo ukuł już tak sprytnie, a równo i bez skazy, że mu niektórzy włościanie poczęli doradzać, żeby własną otworzył kuźnię. Miał wówczas rok szesnasty, więc za młodym był jeszcze na samoistnego kowala i nie posiadał pieniędzy na zakupno narzędzi. A przy tem wszystkiem ciągnęło go coś bardzo do dalszej nauki w rzemiośle i do zwiedzenia świata.

Raz więc powiada do matki:

— Mamo, przecie ja pójdę do innego majstra na naukę. Gdzieś inni ludzie robią noże, zamki, kłódki, a ja nic tego nie potrafię...

A gdzieżby ty synku chciał pójść?

— A no, pojdę do Kołczanowa. Tam jest ten sławny majster, co kuje wózki węgierskie. Ej, żeby mama wiedziała, co to za ładna przy tych wózkach robota! już ja się dobrze przypatrzył.

— Ta aż do Kołczanowa chcesz iść..... w taki świat daleki... przecież to więcej niż trzy mile ztąd!

— Co mi tam trzy mile! Przejdziesz Zapłotek, wyleziesz na górkę do świętego Andrzeja, potem do Kozowej, potem prościutko do Kwaśnej, potem dojdziesz na drogę, gdzie są dwie lipy, a potem... ot i Kołczanow już widać. Taki doprawdy, że pójdę.

Jak postanowił tak zrobił. Związał rzeczy w kraciastą chustę, zutknął tobołek na laskę, wpakował pieczoną kurę i srebrnego guldena do torby i poszedł. Wedle opowiedzianego matce planu, pominąwszy Zapłotek wylazł na górę do świętego Andrzeja, ztamtąd zbiegł do Kozowej, ztąd znowu do Kwaśnej, pod dwiema lipami zjadł pieczoną kurę, przed samą rogatką Kołczanowską zgubił torbę z guldenem, ale ostatecznie rozpytując ludzi po drodze, dobił szczęśliwie do pracowni majstra Borajskiego i tu w drzwi otwarte na oścież wetknął nieśmiało głowę.

Podówczas właśnie wózki węgierskie wchodziły w modę i pan Kajetan potrzebował więcej pracowników w warsztacie, gdy więc zauważył wędrownego chłopca i przekonał się, że zna się na rzeczy, przyjął go bez długiego namysłu i w dwa tygodnie potem, po odbyciu próby, wyznaczył mu za robotę bardzo dobre wynagrodzenie, bo aż dwanaście guldenów miesięcznie.

O takiem szczęściu Franek prawie nigdy nie marzył.

Odtąd pracował bardzo gorliwie u pa-

miętnym wymienialiśmy z sobą listy wzajemnej wdzięczności. Pomimo tę łączność, mało znałam Aleksandra Dumasa. Czy był wyjątkowo dobrym człowiekiem?... Czy też podobnym do tylu innych? — Nie wiem. Wiem tylko, że w r. 1852 byłam bardzo wysmukłą, wątłą, przezroczystą, tak iż Juliusz Janin, widząc mnie na scenie, rzekł do kilku znajomych: „Lękam się, czy panna Doche dożyje setnego przedstawienia!“ Na co Aleksander Dumas odparł wesoło: „Nie mogłoby być świetniejszej reklamy!“ Przepowiednia Juliusza Janina jeszcze się nie ziściła, a w roli Małgorzaty Gautier wystąpiłam w Paryżu i na prowincyi 617 razy!

J...z.



HENRYK WADSWORTH LONGFELLOW.

Ustęp z „Pieśni o Hiawacie.“ *)

X.

Zaloty Hiawaty.

„Czem cięciwa jest dla łuku,
Tem niewiasta dla mężczyzny:
Choć go gnie, posłuszna jemu,
Choć go ściąga, idzie za nim.
Rozdzieleni nic nie znaczą!“
Tak to młody Hiawata
Mówił sobie w głębi duszy,
Sprzecznych uczuć miotan falą,
To nadzieją to znów trwogą,
Marząc wciąż o Minnehasze,
O czarownej Śpiewnej-fali
Wśród krainy Dakotahów.

„Wybierz dziewczę z swego ludu!“
Ostrzegała Nokomida,
„Nie chodź na wschód, ni na zachód
Szukać pięknej cudzoziemki.
Jako płomień na ognisku
Jest sąsiada córa skromna,
Zaś jak zimny blask miesiąca
Najpiękniejsza z cudzoziemek!“

Tak odradza cna Nokomis,
Ale na to Hiawata
Rzekł jej: „Droga Nokomido,
Miły płomień jest ogniska,
Lecz ja wolę światło gwiazdy,
Wolę srebrny blask miesiąca!“

Więc znów rzecze stara babka:
„Lecz dziewczyny nie bierz gnuśnej,
Nie sprowadzaj w dom próżniaczki,
Rąk niewprawnych, nóg nieskorych;
Pojmij żonę hyżopalcą,
Której serce z ręką w zgodzie
Której stopa żartka w biegu.“

Lecz z uśmiechem wnuk jej odrzekł:
„Wśród krainy Dakotahów
Kwitnie córa strzał snycerza,
Minnehaha, *Śpiewna-fala*,
Najkraśniejsza z wszystkich dziewic.
Tę przywiodę tobie w *wigwam!*
Ona chętną będzie tobie,
Będzie gwiazdą i ogniskiem,
A dla ludu mego słońcem!“

Babka jeszcze tak odradza:
„Oj, nie przywódź w dom mój obcej
Aż z krainy Dakotahów!
Bo to dzikie pokolenie
Często z nami boje stacza:
Jeszcze stare mamy spory,
A czas krwawych ran nie zgoił!“

Lecz z uśmiechem wnuk jej odrzekł:
„Z tej przyczyny, a nie z innej
Pojąć córę chcę tej ziemi,
By pojednać stare rody,
By ustały stare waśnie,
By zabliźnić dawne rany.“

Potem ruszył Hiawata
Do krainy Dakotahów,
Do krainy pięknych dziewcząt,
Pędząc poprzez bagna, łąki,
Przez dziewicze lasy, knieje
I zaciszne uroczyska.

A w zaklętych swych chodakach
Zbiegał milę w każdym kroku,
Długo jednak trwała podróż,
Iż wyprzedzał sercem kroki:
I tak biegł wciąż bez spoczynku,
Aż usłyszał szmer kaskady,
Co go zdał się wołać z dala.
„Cudny szmer to!“ szepnął sobie,
„Cudny szelest co mnie wabi!“

Tuż na samym skraju lasu
Pół na słońcu, pół zaś w cieniu
Żerowały ciche łanie;
On zaś szepnął: „Łuku nie chyb!“
Strzale rzekł zaś: „Leć mi prosto!“
Wraz też puścił śpiewną strzałę
I jelenia trafił w serce.
Zarzuciwszy łup na plecy,
Pędził dalej bez spoczynku.

Przede drzwiami swojej chaty
Strzał sędziwy siedział snycerz,
W leśnym kraju Dakotahów,
Rzeźbiąc ostre strzał nagłówki,
To z jaspisów to z krzemieni.
Obok niego tuż siedziała
W pełni krasy Minnehaha
Córa jego *Śpiewna-fala*,
Z trzcin rogoże plotąc pilnie.
Starzec dumał o przeszłości
O przyszłości krasna dziewa.

Dumał starzec o dniach dawnych,
O dniach, w których sam strzałami
Kładł jelenie i bawoły
Na pachnącej łące kwietnej,
W których strzelał dzikie gęsi,
Gdy leciały na południe,
Gdy leciały z wielkim krzykiem;
Dumał też o bojach dawnych,
Kiedy strzały kupowano
Nieodzowne w każdej walce.
Ach! tak dzielnych wojowników —
Westchnął — nie ma już na świecie.
Dziś mężowie jak niewiasty,
Bo za broń im starczy język.

Dziewczę marzy o myśliwcu
Z innej strony, z innej ziemi,
Młodym, smagłym, urodziwym,
Co raz w wiośnie przybył rankiem
Kupić ostrych strzał od ojca,
Który spoczął dzień w *wigwamie*

*) Longfellow, jeden z największych poetów amerykańskich, autor „Ewangeliny“ i „Złotej legendy“ przenosi nas w swej „Pieśni o Hiawacie“ w całkiem odrębny nie wyzyskany przedtem poetycznie świat Indyan amerykańskich. Według intencyi autora miał poemat ten być niejako indyjską Eddą, odbija bowiem w sobie całą samorodną mitologią pierwobylców Ameryki Północnej. Poemat ten daje zarazem obraz rodzinnego i społecznego życia starych plemion indyjskich. „Pieśń o Hiawacie“ — mówi Longfellow — opiera się na tradycyi przechowanej u Indyan północnej Ameryki o mężu cudownego pochodzenia, który im został zesłanym, aby oczyścić rzeki, lasy i jeziora rybne, i aby ich nauczyć sztuk pokoju. Znano go u różnych szczepów pod różnemi nazwami.

---

na Kajetana Borajskiego, oszczędzał i odsyłał pieniądze do Zapłotka i nawet nie pragnął lepszej doli...

Tak, nie pragnął jej, — ale było to przed sześciu laty.

Obecnie liczył Franciszek Smolarz lat dwadzieścia i dwa i nie był zgoła podobnym do dawnego Franka. Wystrzelił w górę jak prosty a gładki świerk z Zapłotka. Chudy był przytem, wąski w piersiach, ale siłę miał w wyrobionych ścięgniach niebywałą. Pozornie wydawało się, że cienki i giętki jak trzcina chłopak nie uniesie większego młota w obu dłoniach, — on kierował nim swobodnie jedną ręką, gdyby piórem.

Twarz miał Smolarz chudą, muskularną, śniadą, czy też zczerniałą od dymu i pyłu węglanego, lśniącą połyskiem wygładzonego pergaminu. Głowę jego otaczał włos gęsty, czarny, z lekka pogięty w kędziory. A czarne wielkie oczy błyszczały jak zarzewia.

Podobnie jak zewnętrzna postać Franciszka zmieniła się z lat biegiem, tak i wewnętrzna strona jego znacznej uległa odmianie.

Dziś był już poważną siłą w swym zawodzie, prawą ręką w pracowni Borajskiego, a w jego domu przyjacielem, ledwie że nie synem lub młodszym bratem. Posiadał on mir między czeladnikami, miał przyjaciół i znajomych w mieście, odziany starannie i przyzwoicie, chodził do kościoła i na wieczorki do „Gwiazdy“, siostrę posyłał do szkoły wydziałowej, czytywał nieraz wieczorami książki pożyczone u panny Loli — zresztą kując lub piłując, przemyśliwał nieraz godzinami.

Wogóle rozwijał się umysłowo, nie starając się o to, ani nie pracując nad sobą wedle z góry ułożonego planu. Natura refleksyjna i pochwytny umysł były mu nauczycielami. Usłyszawszy jakie zdanie lub przeczytawszy coś ciekawego w książce, dotąd nad tem przemyśliwał, dopóki nie uznał, że rzecz rozumie dostatecznie.

Przy tem będąc małomównym, nie lubił się nikogo o nic pytać, poczytując ten rodzaj nabywania wiadomości za coś ubliżającego godności człowieka. Oczywiście, że była to przesadna ambicya, drażliwość, wiodąca często na bezdroża — lecz on wolał wśród rozmyślań dojść do błędnego wyniku i wynik ten przyjąć za pewnik, byle on był jego własnym dziełem przez niego samego stworzonem.

Miał przecież jednę duszę ludzką, przed którą chętnie otwierał swe myśli i dzielił się wrażeniami. Tym wybrańcem był Staszek Łasiecki, pierwsza osobistość, krórą poznał za przybyciem do Kołczanowa.

Pobudkę do nawiązania przyjacielskich stosunków dał zegarek, wielka stara „cebula“ Łasieckiego, którą Smolarz mimo, że nie znał się na mechaniźmie zegarków, naprawił koledze z „Gwiazdy“ bezpłatnie, a naprawił tak dobrze, że i zawodowy zegarmistrz lepiejby tego nie uczynił.

Łasiecki, zabawna postać, o ptasim raczej dziobie niżli ludzkiej twarzy, mimo jąkania się złoty miał humor, trącący nieraz rubaszną satyrą. Polubił on Smolarza nietylko dla jego biegłości w kunszcie zegarmistrzowskim, ale także i dla tego, że mógł wygadać się przed nim do woli, będąc pewnym, że Smolarz mu nigdy zdania nie przerwie. Przytem poczciwy Franek miał także tę zaletę, że pozwolił się nicować na wszystkie strony, bez gniewu. Swoją drogą Łasiecki nie drażnił nigdy Smolarza dotkliwie, dokuczał mu jeno kiedy niekiedy po przyjacielsku, serdecznie, ot, dlatego, aby się obaj mogli pośmiać i zabawić.

Od czasu jak Smolarz, podniesiony przez Borajskiego do godności szefa pracowni, otrzymał znaczniejszą pensyą i pokoik w nowym domu, można było często wieczorami przez okno, wychodzące na ulicę, oglądać tych dwóch młodych ludzi, spędzających tym razem wieczory na pogadance i śmiechu. Smolarz z głową wspartą na dłoni, z palcami zanurzonemi w gęstą, kędzierzawą czupryne, słuchał — Łasiecki mówił wciąż, gestykulował żywo, zrywał się często z sie-

I stał długo przede drzwiami
I wstecz patrzał przy odejściu.
Ojciec chlubnie mówił o nim,
Chwalił męztwo, mądrość jego.
Czyliż przyjdzie znów po strzały
Pod wodospad Minnehahy?
Dawno rączki opuściła,
Patrząc przed się smętnem oczkiem.

Wtem marzenia ojca, córki
Przerwał jakiś szmer w zaroślach;
Wnet z płonącem, świeżem licem,
Z swym jeleniem na ramionach,
Wyszedł z gęstwy i przed nimi
Stanął nagle Hiawata.

Zaraz strzałek siwy snycerz
Wstał poważnie od swej pracy,
Na bok złożył grot zaczęty
I poprosił gościa w wigwam
I uprzejmie rzekł do niego:
„Bądź pozdrowion, Hiawato!“

U stóp cudnej Minnehahy
Złożył brzemię Hiawata,
Złożył z ramion łup myśliwski,
A dziewica na młodziana
Wzniosła oczy od rogoży
I swym słodkim rzekła głosem:
„Bądź pozdrowion Hiawato!“

Wielce wigwam był przestronny,
Z skór jelenich białych zszyty;
Bóstwa leśnych Dakotahów
Na opończach jego lśniły,
A drzwi były tak wysokie,
Że się ledwie gość uchylił,
Ledwie wierzch ich piórem musnął,
Kiedy wchodził do wigwamu.

Wtedy wstała *Śpiewna-fala*,
Wstała z ziemi Minnehaha,
Odłożyła na bok matę,
By przekąskę przynieść z chaty,
By zaczęę pnąć wody z zdroju,
Jadło podać w czarkach z gliny,
A w drewnianych kubkach napój.
I słuchała mowy gościa,
Mowy ojca sędziwego,
Sama zaś nie rzekła słowa
Ustek swoich nie otwarła.

I słuchała jakby we śnie
Słów wymownych Hiawaty,
Gdy im prawił o swej babce,
Co go niegdyś wyniańczyła,

Gdy powiadał o swych druhach,
O gęślarzu Czibiabie,
O Kwasynda strasznej sile,
I o szczęściu i bogactwie
W kraju cichym Odżibwejów,
W kraju cichym i rozkosznym.

„Dziś po tylu latach wojny,
Tylu latach krwi rozlewu,
Pokój łączy Odżibwejów
Z pokoleniem Dakotahów.“
Potem dodał, zwolna mówiąc:
„Iżby mir ten trwał wieczyście,
Silniej spoił nasze dłonie
I skojarzył serca nasze,
Daj mi córę za małżonkę,
Minnehahę, *Śpiewną falę*,
Perłę dziewic Dakotahskich!“

A sędziwy snycerz grotów
Dumał chwilkę, zanim odrzekł,
Puszczał siny dym w milczeniu,
Patrzał dumnie na młodzieńca,
To znów słodko na dziewicę,
A odpowiedź dał poważnie:
„Tak! gdy zechce Minnehaha,
Radź się serca twego, córko!“

A czarowna *Śpiewna-fala*
Pokraśniała jeszcze bardziej,
Ani *tak*, ni *nie* nie mówiąc,
Przystępując do młodzieńca
I siadając obok niego.
Potem rzekła, płonąc cała:
„Tak, chcę z tobą iść mój mężu.“

W taki sposób Hiawata
Pojął żonę. Tak to córkę
Sędziwego strzał snycerza
Zyskał w kraju Dakotahów!

I z wigwamu wnet wyruszył,
Wiodąc z sobą *Śpiewną-falę*,
Ręka w rękę szli przy sobie
Przez dąbrowy i przez łąki,
Zostawiając w drzwiach wigmamu
Sędziwego strzał snycerza;
Szmer słyszeli wodospadu,
Co w oddali smętnie mruczał,
I tak z gęstwy jeszcze wołał:
„Żegnaj, żegnaj Minnohaho!“

Wnet sędziwy snycerz grotów
Do swej pracy zasiadł znowu,
Siadł przed drzwiami w blasku słońca
I tak z cicha szeptał sobie:

„Tak to córy dom rzucają,
Ukochane, kochające!
Właśnie, gdy nam pomódz mogą,
Gdy podporą są w starości,
Przyjdzie młodzian z świetnem piórem,
Przyjdzie obcy z wdzięcznym fletem,
Całe sioło grą swą zwabi,
Najpiękniejszą z dziew wybierze,
A ta za nim w świat się puści
I dom rzuci dla obcego.“

Jak uroczym był ich powrót
Przez dziewicze lasy, knieje,
Przez pagórki, łąki wonno,
Przez strumyki, wzgórza, jary!
Krótkim zdał się Hiawacie,
Chociaż droga była długa,
Choć swe kroki zwalniał ciągle,
By nie zmęczyć *Śpiewnej-fali*.

Przez szerokie, szumne strugi
Na ramionach niósł dziewicę;
Jak puch lekki zdała mu się,
Jak u skroni lśniące pióra.
Wśród gęstwiny przodem kroczył,
Odginając w bok gałęzie.
Na noc szałas skleił lekki,
A z ziół usłał miękkie łoże
I przed wnijściem ogień wzniecił
Z suchych szyszek drzew świerkowych.

Rój wietrzyków w ślad za nimi
Przez las leciał i przez łąkę,
Wszystkie gwiazdy na niebiosach
Nad ich słodkim snem czuwały,
Z gniazdka swego w pniu dębowym
Wyglądała wiewióreczka
I zerkała na kochanków.

Toż i królik, mknąc w gęstwinę,
Stanął słupka przed swą norą
I źrenicą jął ciekawie
Na kochanków zerkać parę.
Jak uroczym był ich powrót!
Wszystkie ptaszki słodko, wdzięcznie
O rozkoszy, szczęściu piały.
Toż sikorka tak śpiewała:
„Tyś szczęśliwy Hiawato,
Mając taką śliczną żonkę:“
A gajówka zawodziła:
„Tyś szczęśliwa, Minnehaho,
Bo dzielnego masz małżonka“.

Z nieb błękitu jasne słonko
Przez gałęzie drzew spojrzało
I tak rzekło: „Dzieci moje!

---

dzenia, wyrzucał łokcie i pięście na boki, wykrzywiał swoją płaską, drobną twarz zabawnie... poczem obaj zwyczajnie wybuchali śmiechem.

Łasiecki był synem zubożałego kupca korzennego i w sklepie ojcowskim przez dzień pracował. Wieczorami, jeżeli nie siedział u Smolarza, to w Gwieździe rej wodził między młodzieżą. Znany też był powszechnie w mieście z tego przeważnie powodu, że świetnie urządzał amatorskie przedstawienia. A ponieważ sam jąkając się, żadnej roli objąć nie mógł, więc przynajmniej jako reżyser i sufler był zawsze czynnym i znakomicie się teatrom amatorskim przysługiwał.

Łasiecki bywał często zapraszany do Borajskich na kawę lub na kolacyę. Tu czuł się jak w domu i jego też panny wraz z panią Borajską, nie odbiegającą zbytnio od dziewcząt pojęciami i pustotą, uważały za nadwornego komika, któremu można ciosać kołki na głowie i od którego przyjmuje się wszystko bez gniewu za dobrą monetę.

Wieczorne godziny w domu Borajskich mijały zazwyczaj bardzo wesoło. Czasem przy herbacie, gdy się żywa toczy gawędka, sprzysięgną się naraz wszyscy na biednego, milczącego Franka, jakby się przedtem z góru umówili, i poczną go różnemi nagabywać pytaniami:

— Gdzież to pan bywał ostatniej niedzieli, panie Franciszku?

— A dla czego pan tak wąsy wyczernił węgierską pomadą?

— Kto to zdobył pańskie serce, panna czy mężatka?

— Czemu pan milczy?

— Kto milczy, ten się do winy przyznaje.

Smolarz uśmiecha się na to wszystko, spuszcza oczy i odpowiada poruszeniem ramion, dodając kiedy niekiedy zwyczajne:

— No, cóż?

Gdy go tak czasem opadną pani Borajska, Lola i przyjaciel Łasiecki, staje Anulka i pan Kajetan w jego obronie.

Lecz on każdą napaść z takim stoickim przyjmuje spokojem, iż nawet nie odczuwa wdzięczności dla tych, co w jego sprawie umysł i język trudzą — bo i poco odpowiadać na pytania, które nie są warte i łuta opiłków żelaznych.

Mimo to lubią go tu wszyscy.

Pani Borajska dla okazania mu swej przyjaźni, zaszczyca go niekiedy w zimowe wieczory trzymaniem pasemka przy zwijaniu nici na kłębek, Lola wespół z Anulką każą mu wymyślać najrozmaitsze monogramy, złożone z liter K. B. i A. S. lub nudzą, by czytał głośno książkę, naprzykład „Bladą hrabinę“, wypożyczoną w czytelni rękodzielników, przy słuchaniu której „robią się bardzo przyjemnie kobiece robótki szydełkiem albo igłą“; a nieraz też, gdy panienki się rozochocą, musi z niemi tańczyć polkę lub mazura. W takim razie gra zwykle Lola (która się uczy na fortepianie u najsławniejszego i jedynego nauczyciela muzyki w mieście Kołczanowie, pana Storcha) gdy zaś nagrawszy się sama tańczyć zapragnie, wówczas przy fortepianie zasiada Łasiecki, który nie uczył się wprawdzie grać u mistrza Storcha, ale z natury będąc obdarzony zdolnościami do wszelkiego rodzaju sztuk nadobnych, umie kilka taktów staroświeckiej polki dwoma palcami, jak niemniej potrafi wygrać połowę mazura, nawet z basem. Pani Marcysia nie odmawia również nigdy zaprosinom do tańca, a nawet się chmurzy, gdy młodzi o niej zapomną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Miłość blaskiem, gniew jest cieniem;
Z nich obojga żywot spleciony.
Ty miłością rządź, młodzianie."

Później księżyc spojrzał w szałas
I czarowne lejąc blaski,
Szepnął z cicha: „Dzieci moje!
Dzień jest znojny, noc spokojna,
Mąż gwałtowny, żona słaba;
Przez pół wygrasz, gdy ustąpisz;
Cierpliwością rządź, kobieto!

Taką była cała podróż;
Tak to przywiódł Hiawata
Do mieszkania starej babki
Blask miesięczny, żar ogniska:
Przyniosł słońce swego ludu,
Minnehahę, *Śpiewną-falę*,
Najkraśniejszą z wszystkich niewiast
W leśnym kraju Dakotahów,
Co z urodnych słynie kobiet.

Tłom. *Ludwik Mizerski.*



ŻYCIE SPOŁECZNE.

Jeszcze w sprawie Banku Ziemskiego.

Z prowincyi.

Z prośbą o umieszczenie odbieramy artykuł następujący:

Po wyczerpujących artykułach zamieszczonych tak w Przeglądzie Poznańskim jak i winnych czasopismach, można niewątpliwie sprawę Banku Ziemskiego uważać za dostatecznie wyjaśnioną. Jeżeli mimo tego zabieram jeszcze głos w tej sprawie, to głównie dla tego, aby wykazać, w jakim stopniu interesowały się dotychczas sprawą Banku różne sfery naszego społeczeństwa.

Za podstawę obliczeń wziąć muszę pierwszą emisyę, gdyż druga nie jest jeszcze dotychczas zamknięta, a liczby tejże emisyi nie są jeszcze ogółowi przystępne.

Jak wiadomo na 1-szą emisyę — wynoszącą 1200 akcyi po 1000 mrk. złożyły się przeważnie dwa drugie zabory — austryacki i rosyjski. Galicya mianowicie okazała w tej sprawie głębokie zrozumienie rzeczy i gorące współczucie dla bratniej dzielnicy. Z ogólnej liczby 1200 akcyi podpisało W. Ks. Poznańskie tylko 345 akcyi. Z tej liczby na obywatelstwo wiejskie i na osoby do tej sfery należące przypada akcyi 304, na księży 16, na kupców i przemysłowców 15, na tak zwaną inteligencyą 9, wreszcie jedna akcya jest w ręku gospodarza włościańskiego.

Ze obywatelstwo wiejskie stosunkowo tak wielki wzięło udział w tem przedsiębiorstwie, było rzeczą naturalną. Mimo wielkich wyłomów, jakie marnotrawstwo, nieoględność i inne wady przez długi szereg lat poczyniły w tym zastępie, mimo przesilenia rolniczego, które od lat kilkunastu ciąży na rolnictwie, są to sfery u nas najzamożniejsze i mogące łatwiej, niż inne warstwy, odkładać większe kwoty na sprawy publiczne. Chodziło tu zresztą o ziemię, o warsztat pracy i źródło dochodu tychże sfer, a prócz tego początkowo, jak wiadomo, nazywano Bank Ziemski — bankiem ratunkowym, i mniemano, zanim się pojęcia rozjaśniły, że będzie on instytucyą ratującą zachwiane osobniki. Obecnie jasnem jest, że tę funkcyę Bank Ziemski może tylko spełnić pośrednio, a że głównem jego zadaniem jest ratowanie ziemi — i to za pomocą żywiołu ludowego.

Czy mimo owego stosunkowo wielkiego i przeważnego udziału dziedziców w subskrypcyi na pierwszą emisyę, — można powiedzieć, że te sfery spełniły swój obowiązek — w miarę swych środków? że zdobyły się na to, na co tylko zdobyć się mogły i zdobyć były powinny? Twierdzę stanowczo, że nie. Sub judice lis est: czy lokacya kapitałów w akcyach Banku jest operacyą pewną czy nie. Mojem zdaniem, jest pewną, o ile rachuby ludzkie wogóle mogą mieć pretensye do pewności i nie pojmuję, dla czegoby w zasadzie lokacya kapitałów w akcyach Banku Ziemskiego miała być mniej pewną, niż w listach zastawnych Ziemstwa kredytowego, kiedy w obu papierach gwarancyę stanowi ten sam objekt tj. ziemia.

Ale nie z tego tytułu twierdzę, że owe sfery nie spełniły swego obowiązku w dostatecznej mierze, bo gdzie chodzi tylko o zysk materyalny, tam każdemu musi być zostawione do woli ocenienie, co uważa za rzecz dla siebie korzystniejszą. Ta zresztą kwestya odnosi się w równej mierze do wszystkich sfer naszego społeczeństwa. Ale „od każdego, któremu wiele dano, wiele żądać będą, a któremu wiele zlecono, więcej będą chcieć od niego". Za dawnej Rzeczypospolitej — ziemia była wprawdzie „panis bene merentium", była nagrodą za oddane krajowi przysługi, ale równocześnie nakładała obowiązek, stawania na obronę kraju na pierwszem miejscu.

Schylamy czoło przed tym licznym zastępem, który w każdej potrzebie stawa w szeregu, który i w zajmującej nas tutaj sprawie spełnił swój obowiązek — ale niestety, w tem pospolitem ruszeniu zbyt wiele mamy nieobecnych. Dawna Rzeczpospolita szlachecka, w której tętniało żywe poczucie obowiązku, nakładała poenas contra absentes et negligentes. My do tego prawa nie mamy, a chociażbyśmy je mieli, nie korzystalibyśmy z niego, bo więcej nad przymus cenimy poczucie obywatelskie. Jakże możemy udawać się po pomoc do bratnich dzielnic, kiedy sami nie wszyscy spełniliśmy nasz obowiązek? Zwracam na to uwagę, że ten fakt — jak utrudniał w drugich zaborach agitacyę przy pierwszej emisyi, — tak i przy niniejszej wielką stanowi przeszkodę, i daje broń w rękę wszystkim wahającym się. Nie należę atoli do pesymistów i mam otuchę, że próżnie i braki, które się uwydatniły przy pierwszej emisyi, zapełnione będą przy drugiej.

Zachodziłoby tylko jeszcze pytanie, czy nie apeluję do niemożności. — Nomina sunt odiosa — ale ktoby miał wątpliwość pod tym względem, niechaj weźmie do ręki spis akcyonaryuszów i niechaj się sam przekona, czy wszyscy są w szeregu, czy nie mamy znacznego zastępu absentes et negligentes, którzyby bez uszczerbku swych własnych uprawnionych interesów mogli zapewnić powodzenie drugiej emisyi akcyi.

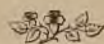
Druga kategorya akcyonaryuszów — duchowieństwo — przedstawia się mniej korzystnie. Szesnastu na kilkaset księży — to liczba trochę za mała. Słusznie już zwrócono uwagę na to, że każda osada Banku Ziemskiego, to twierdza nietylko narodowości ale i katolicyzmu, a każda nieomal parcelacya Komisyi kolonizacyjnej to wyłom w tej twierdzy. Nie tylko więc ze względu na stosunki ekonomiczne i narodowościowe, ale i ze względu na stosunki kościelne powinni księża popierać działalność naszą parcelacyjną.

Przechodząc do kupców i przemysłowców, uważamy to za pocieszający objaw, że już w pierwszej emisyi sfery te reprezentowane są 15 akcyami. Jak rolnictwo z obecnem przesileniem rolniczem, tak handel i przemysł nasz ma ciężką walkę z przewagą konkurencyi żydowskiej w handlu, a ogólno-niemieckiej w przemyśle. Ta gałąź gospodarstwa narodowego jest u nas w pierwszych stadyach rozwoju, — potrzebuje sama kapitału na własne rozwinięcie się. — nic więc dziwnego, że w subskrypcyi na Bank ziemski nie mogła zbyt pokaźnie wystąpić. Akcye Banku Ziemskiego nie mają kursu na giełdzie, znaczniejszy więc udział w subskrypcyi byłby unieruchomieniem kapitału, którego przemysł i handel nasz nie mają dotychczas zbytniego. Z drugiej jednakże strony zwrócić należy uwagę na ścisły węzeł, jaki — a mianowicie w naszych stosunkach — łączy przemysł i handel z rolnictwem. Każdy ubytek ziemi z rąk polskich jest stratą dla naszego przemysłu i handlu, gdy na odwrót szeroko przeprowadzona parcelacya byłaby błogosławieństwem dla handlu i przemysłu, zwłaszcza drobnego. Z tego powodu parcelacya winna wśród kół przemysłowych i handlowych znaleźć najgorętsze poparcie, czy to w miarę możności przez branie udziału w subskrypcyi, czy też przez popieranie jakimkolwiek sposobem całej akcyi parcelacyjnej, — czy ona wychodzi z poręki Banku Ziemskiego, czy Spółki parcelacyjnej rolników czy z prywatnego, byle uczciwego przedsiębiorstwa.

Zwracamy się wreszcie do czwartej klasy akcyonaryuszów, do reprezentantów inteligencyi, której udział w pierwszej emisyi był słabym. Czego co najmniej od inteligencyi ma społeczeństwo prawo żądać, to zrozumienia doniosłości całej sprawy parcelacyjnej, to energicznego jej poparcia słowem i zachętą, to popierania każdej akcyi parcelacyjnej. Nie na tem jednakże powinna poprzestać. Zasoby jej majątkowe nie są wprawdzie znaczne, ale mniej od innych powyższych kategoryi ma ona potrzebę obawy „unieruchomienia" swego dorobku w akcyach Banku, mniej ma sposobności zużytkowania swych zasobów we własnych produkcyjnych przedsiębiorstwach. Z ufnością przeto zwracam się do reprezentantów inteligencyi, aby zechcieli w ostatniej jeszcze chwili podjąć z energią i zapałem sprawę Banku Ziemskiego, aby tak wpływem jak zasobami swemi dopomogli do uzupełnienia drugiej emisyi — i niedopuś ili tego, aby powiedziano o naszej dzielnicy: druga emisya upadła, bo Wielkopolanie nie zrozumieli i nie odczuli doniosłości sprawy parcelacyi.

Skoro się znalazł chociaż tylko jeden gospodarz włościański, który stanął do szeregu, miałaby inteligencya mieć w tej sprawie tylko kilku lub kilkunastu reprezentantów? Byłby to smutny objaw na schyłku żałobnego roku jubileuszowego. Miejmy otuchę, że zwolennicy „Przeglądu", którzy dowiedli, iż umieją ponieść ofiarę dla swej idei, poprą skutecznie i tę sprawę na wskroś realną a zarazem idealną.

Dr. Z. C.



KRONIKA GALICYJSKA.

Wesołe czasy. — Emigracya ludu do Ameryki. Giełdowicze.

W takiej szczęśliwej, mlekiem i miodem płynącej krainie, jaką jest Galicya, można sobie pozwolić na lekceważenie drobiazgów. Mamy wciąż nowe ekscellencje, i nowych hrabiów, więc dusza rośnie, wzrok śmielej patrzy, coraz potężniejszy hymn radości z piersi naszych się wydobywa — i gdzie tam kto ma czas myśleć o tem, że ziemia coraz więcej się zadłuża. Następuje festyn po festynie, to ks. Adamowi dziękujemy za to, że oświadcza się z miłością dla kraju, to

hrabiemu Kaźmierzowi ścielemy drogę różami na wyprawę wiedeńską, to zachwycamy się ks. Eustachym, że równie mu dobrze w mundurze i pirogu namiestnikowskim, jak w marszałkowskim kontuszu, to witamy hr. Stanisława w gmachu sejmowym i na cześć tego „jednego z najznakomitszych mężów *XIX.* wieku“ układamy łamigłówki w pismach dla dzieci, to cieszymy się z kapelusza kardynalskiego ks. Sembratowicza, to z uwielbieniem spoglądamy na JE. Bilińskiego, obiecującego napełnić z naszych kieszeni pusty worek finansów austryackich, to sprawiamy owacyę prezydentowi sądu JE. Zborowskiemu za to, że jest prezydentem, to wydajemy obiady dla p. Męcińskiego, członka Rady nadzorczej Towarzystwa ubezpieczeń, za to że jest człoukiem Rady nadzorczej Towarzystwa ubezpieczeń, to obchodzimy rozmaite jubileusze, oddajemy czołobitność obdarowanym wysokiemi orderami — a wobec tych festynów czyż możemy pamiętać, że sprawa regulacyi rzek galicyjskich zatonęła gdzieś tam w archiwach jakiegoś ministerstwa. Kiedy z łaski konstytucyi lub rozporządzenia cesarskiego, następują wybory, wtedy bawimy się całą duszą, wytaczamy na rynek swoje programy, przejeżdżamy wzdłuż i wszerz całą Galicyą, aby dodawać animuszu do zabawy, wzywamy do tańca starostwa, żanda merye i żydowskie kahały, rzucamy pieniądze całemi garściami, aby naród był wesoły — a komuby tam w tej karnawałowej rozrywce przyszło na myśl, że istnieje jakaś tam niebezpieczna sprawa ruska lub grożąca społeczeństwu sprawa żydowska, że gwałtownej naprawy potrzebuje ustrój gminny, że tysiące ludzi ginie z braku pomocy lekarskiej.

Pełne kieszenie i myśl od trosk wolna wytwarzają wciąż u nas nowe potrzeby, rozrywki i zaspakajania wrażeń, ztąd rozszerzamy działalność Towarzystwa wyścigów konnych, zakładamy nowe resursy (w samym Krakowie dwie w ciągu miesiąca powstały) powołujemy do życia nowe dzienniki, zamiast stare ulepszyć, budujemy nowe teatry, otwieramy nowe handelki, zakładamy nowe pisma humorystyczne, jeździmy własnemi parowcami po wodach morza Środziemnego i fetujemy na nich dostojników otomańskich, robimy wreszcie wyprawy myśliwskie do wnętrza Afryki. Czasem tylko wśród tej ogólnej zabawy usłyszymy jakiś zgrzyt, jakieś wołanie na trwogę, a wówczas następuje chwila zastanowienia, ale tylko chwila, bo oto przybywa Coquelin młodszy na gościnne występy, bo oto nadciąga karnawał, a z nim projekty balowe, bo oto p. Szlachecki został grafem, a p. Lokajski szambelanem — a więc dalej w pląsy, w górę kielichy, niech żyje Coquelin młodszy i starsza od niego bieda galicyjska.

Ale tych zgrzytów coraz więcej się mnoży, a niektóre z nich (czemu aż trudno dać wiarę) dochodzą nawet do uszu Koła polskiego. Ostatni z nich, to emigracya ludu galicyjskiego do Ameryki, emigracya na wielką skalę. Już przeszło przed pół rokiem (zdaje mi się w maju) w korespondencyi mojej do waszego „P r z e g l ą d u“ zwracałem uwagę na ten fakt i podałem w podejrzenie nie dobrą wolę, ale pożyteczną działalność dworskiej filiji Towarzystwa św. Rafała, założonej dla opiekowania się emigrantami. Zanim ta filia została założoną, słyszało się w prawdzie ciągle o emigrowaniu włościan, ale nie słyszało się, aby wychodziły z kraju partye ludu po 500 i 1000 ludzi liczące. Towarzystwo św. Rafała upodobało sobie niektóre stany Brazylji, a chwaląc stosunki w nich istniejące, rozgłaszając między ludem, że da mu opiekę w podróży, uprzystępni ceny przejazdu, nie zdołało zrozumieć, że w ten sposób tworzy niebezpieczną propagandę. Było to zrobione w najlepszej wierze, bo teoretykom i idealistom zdawało się, że w ten sposób uchronią lud od wyzyskiwania agentów. I może zdawało się dobrze, ale nie zastanowiono się nad tem, iż zamiast dziesięciu rodzin, które ajenci byliby wywieźli, wyjedzie dwadzieścia, korzystając z ułatwień i poniekąd zachęty. Co więcej, Towarzystwo św. Rafała jak się okazuje, działało lekkomyślnie, bo nie zbadało dostatecznie o ile włościanin galicyjski da się przystósować do warunków brazylijskich, o ile te warunki są dla niego korzystne. I pustoszały wsie całe, coraz więcej ludzi szło na zatracenie. Pierwsi opatrzyli się rusini, bo ta klęska najwięcej ich dotykała, gdyż emigracya z powiatów ruskich największe przybrała rozmiary. Wtedy to przeglądając pisma ruskie i nie mając podstawy w tym wypadku, nie wierzyć ich słowom, chciałem zwrócić za waszem pośrednictwem uwagę dziennikarstwa galicyjskiego na grożące niebezpieczeństwo. Ale dziennikarstwo to było wówczas zajęte wyścigami końskiemi i Rzeczą p. Koźmiana, a potem nastąpiła nadzieja ujrzenia hr. Badeniego na krześle prezydenta ministrów, potem nadeszła ważna chwila, stanowiąca o tem, kto będzie w sejmie wymierzał dodatki do podatków, — a więc takim drobiazgiem jak emigracya, nie mogło się zajmować szanujące się dziennikarstwo galicyjskie. Trzymając się zasady s u u m c u i q u e, dodaję, iż znajdowałem niewielkie wprawdzie, ale bądź co bądź pewne zajęcie się tą sprawą w dwóch wręcz względem siebie skrajnych organach lwowskich K u r y e r z e i P r z e g l ą d z i e. Ale i to ucichło, bo Towarzystwo św. Rafała składające się zresztą z ludzi bardzo porządnych, a nawet zacnych, umiało widocznie przekonać o swej pożytecznej działalności. I trudno się nawet dziwić dziennikom, które z dobrą wiarą przyjmowały tendencyjnie ułożone komunikaty. Ciekawa rzecz np. byłoby dowiedzieć się, kto im dostarczył tłomaczenia artykułu Scherzera, konsula austryackiego w Genuyi, w którym opuszczono ustęp, będący oskarzeniem lwowskiego Towarzystwa św. Rafała, a natomiast wtrącono frazes, iż najkorzystniejsze warunki dla siebie znajdują emigrujący w tych stanach brazylijskich, do których Towarzystwo św. Rafała skierowało prąd emigracyjny. Przypuszczać należy, iż Towarzystwo poszło na lep ajentów, biorących nagrodę pieniężną za każdego dostarczonego emigranta, że się nie spostrzegło jak wyzyskiwano jego dobrą wiarę. Tymczasem listy dochodzące z Ameryki przedstawiały taki stan straszny wychodźców, że wywarły przygnębiające wrażenie na ich krewnych. Dostarczono ich jednemu z posłów polskich, a w połączeniu z broszurą Scherzera, stały się one przyczyną, iż w Kole polskim zadzwoniono na alarm. Sprawa weszła na porządek dzienny, nie zatuszują jej już żadne protesty ani ze strony Towarzystwa św. Rafała, ani ze strony spokrewnionego z nim Towarzystwa handlowo-geograficznego. Towarzystwo św. Rafała zrobiło, co mogło najlepszego: rozwiązało się. Ale nie rozwiązała się kwestja emigracyi, będącej formalną klęską.

Dziś już nikt nie wierzy w tę Polskę brazylijską, którą nawet naiwni publicyści przedstawiali jako zgodną z interesami kraju. Marzyły się tym panom jakieś stosunki handlowe między córą brazylijską, a macierzą galicyjską. Śniło im się, że lud zbogaciwszy się za morzami, będzie powracał do kraju i powiększał majątek ekonomiczny i narodowy. Takie mrzonki już przepadły — n a s e t o l u d e j d u r y t y. Fakt pozostaje faktem, że utoczono krwi Galicyi i to krwi najlepszej. Oprócz straty w ludziach, poniesie ona jeszcze inne straty. Świeżo w K u r y e r z e L w o w s k i m p. Władysław Fedorowicz odsłonił jeszcze jedną stronę tej kwestyi. Oto pomiędzy włościanami którzy emigrowali i emigrują znajduje się znaczna liczba takich, co zaciągnęli pożyczki w kasach gminnych, a emigrując, sprzedali swoje ruchomości i grunta bez spłaty długu, majątek zatem niejednej z gmin został zupełnie zachwiany.

Suszą sobie ludzie głowy jak zaradzić klęsce, jak powstrzymać emigracyę. Wszystkie gadaniny o wpływie administracyjnym rządu i wpływie moralnym duchowieństwa, nie warte nawet dyskusyi. Gdzie jest choroba, tam potrzeba lekarza, a nie wpływów, gdzie niema chleba, tam go potrzeba dostarczyć, a nie tłomaczyć zgłodniałemu, że może się obejść bez pokarmu. Niech wielcy mężowie galicyjscy zamiast pisania broszur o ładzie i rozkładzie, zamiast wpajania w lud zasad konserwatywnych, postępowych lub socyalistycznych, zamiast wydawania pisemek, zamiast urządzania wystaw popisowych nędzy galicyjskiej, dadzą impuls postawianiu fabryk, energiczniej zabiorą się do rozwoju handlu i przemysłu. Wtedy tysiące rąk znajdzie zarobek, wtedy kapitały nie będą leżeć po bankach, ale obrócą się na pożytek ogólny.

Ba! te kapitały to nowy zgrzyt. My mamy kapitały — spytajcie się oto banków, kas oszczędności i bankierów. Te kapitały idą nawet w obrót, ale nie na cele podniesienia kraju. Kapitaliści-frazesowicze, prawiący wciąż o dobru publicznem, udający opiekunów przemysłu, odbierający hołdy od społeczeństwa za swą pracę, inicyatywę i pomysły głębokie, chowają swe kapitały albo co gorzej obracają niemi . . . na giełdzie. Ostatni krach wiedeński dotknął silnie Galicyę, zwłaszcza Lwów, i odsłonił niejedną tajemnicę. Nie chcąc poruszać spraw, które wprawdzie są publiczne, ale noszą i cechę spraw prywatnych, zaznaczę tylko ogólnikowo, iż pomiędzy graczami giełdowymi byli i nasi zasłużeni, „okadzani przez publicystykę mężowie“. Zażądaj od nich, aby założyli jakąś fabrykę do spółki i aby każdy z nich na ten cel złożył 10,000 złr., to ci zaraz odpowiedzą, iż rzecz to ryzykowna, że może się nie udać, — ale gra na giełdzie to nie ryzyko, to się uda z pewnością i na nią każdy z nich 100,000 złr. a nawet dwakroć, trzykroć z lekkiem sercem przeznaczy. Zażądaj od nich, ażeby poparli cele publiczne, narodowe, to albo wykręcą się sianem albo dadzą jakieś sto reńskich, będące procentem od procentu od tych kapitałów, które pchają w paszczę Molocha giełdowego. Przejrzyjcie spis składek na gimnazyum cieszyńskie lub szkołę polską w Białej, a nie znajdziecie tam tych „imion zasłużonych“, a jeżeli przypadkiem które z nich spotkacie, to z kwotą tak małą, jakby wyszła z kieszeni zaledwie średnio-zamożnego człowieka. Cała ofiarność galicyjska, to ofiarność powstała ze składek kilkudziesięcio-centowych lub kilko-reńskowych, płynących z kieszeni tych, którym często na własne potrzeby nie starczy grosza. Ci nie grają na giełdzie, o ich „zasługach“ milczą dzienniki.

Kiedy jest mowa o ofiarności naszych „wielkich“ przychodzi mi na myśl pewna sprawa. Podczas zjazdu dziennikarzy i literatów we Lwowie na pewnem prywatnem zebraniu słusznie zauważono, iż prawie cała nasza literatura znajduje się pod obuchem cenzury rosyjskiej. Cenzura ta krępuje talenta w Królestwie, a pisarze galicyjscy również się jej poddają, chcąc zarobić na kawałek chleba. Galicya czyta przeważnie książki i pisma wychodzące w Warszawie, a więc literatura i życie jej umysłowe zdane są na łaskę i niełaskę cenzury. Dziennikarstwo galicyjskie obywa się bez litera-

tury, feljetony wypełnia ocenzurowanemi przedrukami, albo tłomaczeniami. Młodzież galicyjska, pochodząc przeważnie z małego mieszczaństwa i ludu, wyniósłszy z domu prawie pierwotną cywilizacyę, nie ma się na czem po za domem kształcić, ztąd poziom młodszej inteligencyi galicyjskiej jest przerażająco nizki. Jest to stan opłakany, bo grozi prawie zupełnem zanikiem literatury, wyrażającej myśl narodową i cofnięciem się wstecz naszej kultury. Wszystkie te uwagi, tylko naturalnie szerzej i więcej wyczerpująco, podnoszono na owem prywatnem zebraniu podczas zjazdu literackiego, a następstwem tej dyskusyi było opracowanie rodzaju memoryału o potrzebie obudzenia życia literackiego w Galicyi, przez założenie pisma literackiego stojącego na wysokości dzisiejszej kultury, niezależnego od wpływów bieżącej polityki galicyjskiej, pracującego nad stworzeniem ruchu i życia literackiego, zdolnego do oddziaływania na umysłowe podniesienie młodszej inteligencyi galicyjskiej. Inicyatywę do tego dali zakordonowi miłośnicy literatury i oświadczyli się z gotowością nietylko moralnego, ale i materyalnego popierania pisma. Żądali tylko, aby Galicya nie cofnęła się od współudziału, a w tym sensie zredagowaną odezwę przysłali na ręce jednego z najwybitniejszych galicyjskich pisarzy, upoważniając go, aby w ich imieniu poczynił kroki, odwołując się do ofiarności ludzi majętnych, wybitnych i zasłużonych. I stało się co przepowiadali pessymiści: na kilkadziesiąt odezw rozesłanych, żadna nie odniosła rezultatu. Jedni „majętni a wybitni“ nie raczyli całkiem dać odpowiedzi, drudzy „majętni a zasłużeni“ odpowiądzieli, iż na razie nie są w stanie dopomódz tak pożytecznemu przedsięwzięciu, inni wreszcie uznali ją nawet za „potrzebę narodową“, ale uważali sprawę za „ryzykowną“, nie mogącą się udać, „bo, — dodawali z ubolewaniem — nie rozbudziło się jeszcze w Galicyi zamiłowanie do literatury“. I skończyło na projekcie.

Może do rozbudzenia tego zamiłowania przyczyni się choć w małej części Przegląd literacki, którego prospekt umieściliście w ostatnim numerze waszego Przeglądu, co mnie uwalnia od powtarzania, jaki ma być cel i treść nowego pisma. Powstaje ono znowu, jak wszystko prawie w Galicyi, ofiarnością „maluczkich“ finansowo. Członkowie krakowskiego Związku literackiego ofiarowali dla Przeglądu literackiego swoją pracę, a nawet materyalne niedobory postanowili pokrywać z własnych funduszów. Więcej żądać chyba trudno, a ofiarność taką może wywołać jedynie cel szlachetny, albo konieczność. Oba te motywy złożyły się po części na powstanie Przeglądu. Nie potrzeba dowodzić, że szlachetną jest praca dla dobra literatury, a koniecznością prawie staje się u nas uczciwa informacya o wychodzących książkach i ruchu umysłowym. Krytyce literackiej oddaje się w całej Polsce zaledwie kilku poważniejszych literatów, a ci nie są w stanie obsłużyć wszystkich pism perjodycznych. Stąd dział krytyki, z wyjątkiem paru miesięczników i paru pism tygodniowych albo całkiem jest przez wydawców lekceważony, albo też oddany na pastwę tej szarej rzeszy literackiej, która gotowa zarówno napisać artykuł o Kochinchinie jak sprawozdanie z wystawy obrazów, aby zaraz potem przystąpić do napisania studjum o sklepach spożywczych, przytułkach nocnych, stosunkach na Madagaskarze, lub wziąć się do rozbioru krytycznego książek wszelkiej treści. W Galicyi pod tym względem jest najgorzej, bo ta w pismach codziennych nie ma nawet i tej fuszerki krytycznej. Na darmo autorze wysyłasz do redakcyi wydaną przez siebie książkę, nawet wzmianki że wyszła nie doczekasz się. Chyba, że należysz do pewnego obozu, albo jesteś przyjacielem jednego z członków redakcyi — ha! wówczas odnośne pismo nietylko poda krytykę, ale zrobi cię Lelewelem, Kopernikiem, Homerem, Szekspirem, Macaulayem, Tainem, stosownie do tego, w jakiej gałęzi literatury lub na którem polu nauki pracujesz. Możesz także mieć to szczęście, iż wyda cię, twą książkę, księgarnia mająca stosunki, wowczas najnędzniejszą twoją powieść postawią przyjaciele wydawcy na równi prawie z utworami Sienkiewicza, Prusa, Orzeszkowej. Najgłośniejszą np. w dziennikarstwie galicyjskiem jest pewna księgarnia, która wydaje same przedruki nie płacąc naturalnie honoraryum tym autorom co zmarli, a żyjącym dając je w pewnej małej liczbie egzemplarzy lub gotówką po 8 złr. od arkusza. Takie traktowanie literatury przez dziennikarstwo sprawia, iż o najlepszych utworach z dziedziny beletrystyki lub literatury naukowej publiczność dowiaduje się tylko z ogłoszeń księgarskich, z których naturalnie nie może nabrać przekonania o treści i wartości utworów, a za to o tandecie czyta wciąż reklamy, na które się złapawszy, nie wierzy później dziennikom i choćby wypadkiem pomieszczona w nich pochlebna krytyka była najsumienniejszą, traci ona swe znaczenie, bo nikt na nią nie zważa i książki nie kupuje. Przegląd literacki temu skandalicznemu zaiste stanowi pragnie zaradzić i dlatego największą wagę będzie przykładał do umieszczania sumiennych sprawozdań literackich. Nie będzie on podawał wyczerpujących krytyk, bo do tego trzebaby pisma na znacznie większe rozmiary, ale będzie o każdej prawie książce wyszłej z druku pisał zwięźle, treściwie podając co ona zawiera, co nowego przynosi, o ile jest pracą orginalną czy kompilacją, uzupełniając to sprawozdanie krótką, sumienną oceną jej wartości. Prócz tego będzie Przegląd kładł szczególny nacisk na podawanie wiadomości o ruchu umysłowym i na bibliografię literacką czasopism, wobec bowiem coraz większego wzrostu pism perjodycznych nie sposób jest, aby nietylko miłośnik literatury, ale nawet fachowy literat miał je wszystkie w swojem ręku, a co za tem idzie dowiedział się jakie w piśmiennictwie perjodycznem pojawiły się prace bliżej go treścią swą obchodzące. Wszystkie prawie literatury europejskie posiadają pisma tego rodzaju, jakiem będzie Przegląd literacki, są one bowiem bieżącą historyą literatury, nieodzownym informatorem dla jej miłośników. Nie mówiąc już o wielkich literatach światowych, sami Czesi posiadają dwa takie pisma, jedno wychodzące w Pradze, a drugie w Bernie morawskiem, a myśmy się nawet na jedno nie zdobyli, a raczej mieliśmy jedno: Przegląd krytyczny, wydawany przez prof. Zakrzewskiego, który jednak upadł z braku poparcia, a po części może i z tego, że prawie wyłącznie poświęcał się literaturze naukowej i był organem pewnego odcienia politycznego. Może Przegląd literacki będzie od niego szczęśliwszy, czego mu życzyć należy dla dobra literatury.

K. Bartoszewicz.

Na Wyłomie.

(Fabryka wielkości. Taktyka królików.)

Mówiłem niedawno o reklamie. Brząka ona i w bęben wali na rynkach i ulicach, — grzechocze w sztuce, literaturze i polityce, — wydymą kropelki wody w bomble otyłe, — zawsze ponętna dla tłumów, zawsze niesmaczna dla tych, co ponad tłumy wyrośli. Nie przeczę, że na targowiskach Yankesów i w wielkomiejskich centrach Europy krzykliwszą ona i wszechstronniejszą niż u nas, lecz wątpię, czy gdziekolwiek jest pospolitszą, a mimo to równie skuteczną jak tutaj, gdzie dzięki niej właśnie, każde lojalno-klerykalne zero stać się może cyfrą, zwaną z rosyjska *„ważnaja piersona“*. Fałszywe wielkości są wszędzie, ale nigdzie ich nie ma stosunkowo tak wiele jak na gruncie poznańskim i nigdzie wydymanie bombli nie odbywa się tak po żabiemu, w rażących trywialnością swoją skokach i podrygach. Najciekawszem w tym względzie jest obserwować karyerę naszych *„juniorów“*, których *„seniory“* zapisali nazwiska swoje tłustemi literami na listach „ładu i porządku“, a tem samem zdobyli dla synów swoich prawo do wielkości. Taki młodzieniec — nazwijmy go panem Filipem — już na ławach gimnazyalnych uchodzi za człowieka porządnych zasad i chłopca, rokującego wielkie nadzieje. Rozmaite ciotki i stryjenki roznoszą od domu do domu, po wsiach i miastach zalety przyszłej wielkości, a ona zawsze „korrekt“, zawsze zachwytów pełna gdy panujące zasady wchodzą na trybunę, zawsze bezkrytycznie za panią matką klepiąca zdawkowe frazesy konserwatyzmu, niekiedy wznosząca sfabrykowane przez zdolniejszych kolegów toasty na cześć ojców i matron polskich, wyliczająca przy okazyi z naciskiem koligacye swoje i przyjmująca z uśmiechem szepty salonowe, że „to, mosterdzieju, tęga głowa ten chłopak“, — kroczy żółwim krokiem po ciernistych drogach gimnazyalnych, zasłanych Homerem, algebrą, historyą i — do bólów bólu! — wypracowaniami. Wreszcie Filipek, dzięki profesorskim stancyom i korepetycyom, zdobywa maturę i jako „pan Filip“ wstępuje w progi berlińskiej, lipskiej, lub wrocławskiej *almae matris*.

Znaliście go — nieprawda? Ubierał się elegancko, półświatek Wintergartenu lub Zeltu znał go najdokładniej, kelnerki przepadały za nim, szukał zawsze towarzystwa kolegów odpowiadających mu rodem i majątkiem i raz po raz — gdy „czerwoni“ studenci urządzali „szopkę“, — zjawiał się jako asystent lub przywódzca „ładu i porządku“ na posiedzeniach akademickich. Tu mówką, wzruszeniem ramion, lub marginesowym konceptem zaznaczał swój protest i biegł do Kempińskiego utopić w butelce oburzenie swoje na zuchwałe warcholstwo, lub w pieszczotach Minny znalazł zapomnienie. Pan Filip młodym w całej pełni nie był nigdy, — nigdy nie „dusił centaurów“ — nigdy nie „wysadzał z posad bryły świata“, — nigdy nie druzgotał „przesądów światło ćmiących“. Przeciwnie, w listopadowych popisach retorycznych wyrażał się nieraz z przekąsem o „niedojrzałych“ poglądach „Ody do młodości“, wielbił Henryka z „Nieboskiej komedyi“ i „Psalmy“, a o tym trzecim furlancie — jak mówi stary Zawiłowski w „Rodzinie Połanieckich“ — powtarzał z radością, że hr. Tarnowski zdarł mu laury z głowy.

Wreszcie pan Filip przepadł w egzaminie raz i drugi, a gdy za trzecim razem uzyskał tytuł doktora, referendaryusza lub dyplomowanego agronoma, dzienniki poznańskie rozniosły po świecie wiadomość, że „syn zasłużonego obywatela zdał świetny egzamin z odznaczeniem“. (Tak! u nas egzamina bez odznaczenia nie egzystują.) Tu rozpoczyna się już na dobre reklama. Pan Filip staje się bożyszczem prasy. Raz po raz wygłosi odczyt lub referat, — a tamtam dzienników opowiada tłumom, że młody Filip wstępuje w ślady starego Filipa i swoją „głęboką uczoność“ składa na

ołtarzu dobra publicznego. Innym razem na jakim wiecu lub zebraniu postawi wniosek o zamknięcie dyskusyi i znów bębni prasa, że głos zabierał nasz znany i uczony p. Filip. Nie ma zaiste jak karyera ludzi „ładu i porządku“! można być skończoną miernotą, wcieloną banalnością, — a mimo to zostać „wielkim, uczonym i zasłużonym“, piastować urzędy honorowe, sterować społeczeństwem. — Poczekajcie! pan Filip posłem może będzie.

Szczęśliwe bractwo! Janczarska kapela reklamy grzmi mu fanfary i stawia pomniki, a choć ludzie rozumni, nie zaślepieni koteryjnym przesądem, uśmiechną się złośliwie, pan Filip rośnie i rośnie. — on prezes, on radzca, on dyrektor, on światło mądrości.

Oto stał się w mieście naszem fakt niezwykłej miary. Kogoś tam wybrano na jakieś stanowisko względnie zaszczytne i według starego zwyczaju odbyło się urzędowe przyjęcie. Dzienniki podały więc wiadomość, że mąż „ładu i porządku“ w nowej dziedzinie swej pracy uroczyst go doznał przyjęcia i na oracye oficyalne odpowiedział znakomitą mową. *Probatum est.* Nie sądźcie jednak, że koniec już na tem. W kilka dni później znajduję drugą wzmiankę w dziennikach, że mąż „ładu i porządku“ odpowiedział witającemu mówcy „bez przygotowania“, a mimo to tak doskonale, że aż mury jękły. Co dalej będzie, nie wiem, — przypuszczam jednak, że kropki jeszcze nie zrobiła prasa i niebawem ujrzymy złocisty ogon tej cudownej farsy.

Ba! cóż dziwnego!

W ten sposób uwierzy z czasem szeroka publiczność, że nikły drobiazg jest potęgą wielką. Rzuć grosz świecący na stół z brzękiem i hałasem, każ otrąbić heroldom, że to dukat złoty, a tłum łatwowierny kornie czoła uchyli. Bądź jednak ostrożnym, panie Filipie, bo dziś już pulsować zaczyna zdrowy prąd krytyczny w społeczeństwie, i podrygi twych niezgrabnych reklamistów, gotowe z czasem wiary nie znaleźć i śmiech tylko wzbudzić. Tak długo jedynie wzrastać możesz bezkarnie na drożdżach reklamy, dopóki zduszona opinia bezmyślnie wierzy sternikom swoim, a na czele społeczeństwa kroczą ludzie, którzy w kulcie miernoty upatrują podstawę własnego panowania. Pamiętam ciekawy dyalog, którego sam byłem aktorem, — pamiętam dziwnie, przedziwnie charakterystyczne zdanie jednego z najpotężniejszych królików poznańskich.

Rzecz dzieje się w redakcyi wielkiego czasopisma.

Brudne okna, kłęby dymu, stół, krzesła, pulpity, podarte gazety i kilka par nożyczek. Numer już wyszedł, gwar redakcyjny się uciszył, a królik zasiadł przy stole i układał wraz ze mną listę kandydacką jakiegoś komitetu. Wymieniłem nazwisko jednego z najinteligentniejszych obywateli miasta. Królik skrzywił się.

— Ej!... ten... nie...

— Dla czego? — spytałem — to człowiek światły i czynny.

— Za mądry, panie, za mądry.

Nie zrozumiałem tej odpowiedzi i spoglądałem pytającem okiem.

— Widzi pan — rzekł po chwili z złośliwym uśmiechem królik siwowłosy — na praktycznej polityce to wy młodzi się nie znacie. Z czasem pan zrozumie, że nieraz błędem jest zaprzęgać mądrych do roboty. Głupimi ja kieruję, i dobrze, — mądrzy mną chcieliby kierować. Zera zamienią się w cyfrę, jeżeli ja jako jedynka stanę na czele. Więcej jedynek nie potrzeba.

— A czy pan sądzisz — spytałem — że jako wyłączny kierownik mylić się nie możesz i głupich zawieść na bagna. Ta autokracya....

— Autokracya! autokracya! — przerwał mi królik. — To słowo słyszę bezustannie. Wiesz mi pan jednak, że muszę ludzi za łeb trzymać, bo inaczej z siodła wylecę.

— Ale to odtrącanie samodzielnych i jasno myślących ludzi od steru, to wysuwanie umysłowych nullów na czoło społeczeństwa wyjść nie może na pożytek sprawie publicznej. Jest to fabryka fałszywych wielkości.

Zaściankowy dyplomata uśmiechnął się cynicznie.

— Z takiemi łatwo się pracuje i bezpiecznie. Mnie potrzeba tylko wołów roboczych. Tem stoję i tem stać będę.

Dziwne chwile otwartości miewał czasami ten królik! Mój kandydat do komitetu przepadł, — zerami rządził sam królik.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* **Odczyty.** Nazwisko p. Kaźmierza Puffkego dobrze się zapisało w pamięci publiczności poznańskiej odczytem „o kobiecie w dramacie współczesnym“, wypowiedzianym w ubiegłym sezonie zimowym na sali hotelu „Victoria“. To też dziwić się nie można, że gdy 13 bm. prelegent powtórnie wstąpił na estradę, by scharakteryzować „najnowsze prądy w literaturze dramatycznej“, znalazł salę nabitą aż do ostatniego miejsca, — co rzadko w stosunkach poznańskich się zdarza.

W śmiałych zarysach naszkicował pan Kaźmierz Puffke obraz ewolucyi społecznej z końca przeszłego i w ciągu obecnego stulecia, rzucając w końcu wróżbę wielkich przeobrażeń, które dziś znowu do bram społeczeństwa pukają i prędzej czy później, w tej lub owej formie, zwyciężyć muszą. Ewolucya społeczna, — zdaniem prelegenta — wywierała wpływ dominujący na nowszą literaturę dramatyczną, na której wycisnęła stempel burżuazyi. W szerokich rzutach poglądowych charakteryzował następnie prelegent francuzką komedyę obyczajową i utwory Ibsena, — mówił o tematach, tendencyach i artystycznej wartości najwybitniejszych kreacyi dramatycznych, wynosząc ponad twórczość mistrzów nadsekwańskich geniusz autora „Nory“ i „Upiorów“. Nader interesującym był mianowicie ten ustęp odczytu, w którym mówca rozwijał poglądy swoje na realizm sceniczny i wyłącznie temu kierunkowi wróżył prawo trwałego obywatelstwa na deskach teatralnych. Wszelkie inne prądy, a mianowicie dramat Maeterlinckowski, pragnący w symbolach przemawiać do widzów, sprzeciwiają się podstawowym warunkom sztuki dramatycznej i zdobyć sobie mogą tylko przejściowe znaczenie. — Końcowe ustępy odczytu poświęcił prelegent dramatowi polskiemu, a położywszy nacisk na społeczny kierunek nowoczesnych utworów, zaznaczył, że zabójcza atmosfera polityczna krępuje należyty rozwój sztuki narodowej. W odczycie swoim wygłoszonym językiem silnym i barwnym, a uderzającym wielką erudycyą i nieco pobieżnym ale trafnym krytycyzmem, uwzględnił p. K. Puffke również literaturę dramatyczną wyrosłą na gruncie poznańskim i zwrócił uwagę na objawy bujniejszego życia w tym kierunku.

Drugi odczyt publiczny wygłosił p. Alfons Parczewski z Kalisza na sali „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“. Prelegent w dwugodzinnym przeszło wykładzie mówił o „Szczątkach Kaszubskich w prowincyi pomorskiej“, a podawszy na wstępie literaturę tego przedmiotu — że tylko wymienimy rozprawy Hilferdinga, Nadmorskiego Ramulta i Marońskiego — przedstawił w drugiej części cennej swej pracy dzieje pomorskich Kaszubów oraz rezultat osobistych badań nad obecnem położeniem resztek [illegible] kaszubskich w powiatach słupskim, bytowskim i lemborskim. Skoro odczyt p. Parczewskiego ukaże się w rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, poświęcimy obszerniejszą ocenę tej na głębokich studyach opartej rozprawie.

* * *

* **Serdecznie polecamy** czytelnikom naszego pisma maleńką książeczkę, wydrukowaną w Mikołowie nakładem wydawnictwa Karola Miarki. Jest to „Podróż po wszechświecie“, popularne rozprawy o księżycu, słońcu, planetach i gwiazdach. Broszura przeznaczona jest dla średnich czytelników. Wyżej w nauce posunięci nie znajdą w niej nic nowego, ale na odczytaniu nie stracą, bo czas przepędzą dobrze, a niejeden wiadomy sobie szczegół odświeżą w pamięci. Nawet dla ludzi, którzy nigdy takich książek nie czytali, broszura jest również przystępna, gdyż skreśloną została popularnie, językiem prostym i zrozumiałym. Wykład żywy, obrazowy; hypotezy starannie ominięto, i fantazyi nie popuszczono wodzów, książeczka trzyma się więc ściśle granic nauki. Co mianowicie za zaletę tej książki uznajemy — to doskonałe i obficie załączone rysunki objaśniające.

* * *

* **Jeszcze dwie książeczki** dla ludu wyszły z pod prasy. Jest to „Dziadowski wychowanek“ Klemensa Junoszy i „W zimowy wieczór“ Elizy Orzeszkowej, w skróceniu p. Fr. Morzyckiej. Broszurki te dobrze odpowiadają swemu przeznaczeniu — jak jedna tak druga czyta się z zajęciem, a tonu moralizatorskiego, jaki zazwyczaj prostego czytelnika nie chwyta za serce i do lektury zniechęca, — niema w nich wcale. Sens moralny wypływa tu sam przez się i sercem dośpiewany być musi i będzie przez czytelnika samego. Boć i nie może być inaczej, gdy sierota, wzięty na wychowanie przez dziadka kościelnego, staje się z czasem człowiekiem uczciwym i zdolnym organistą, gdy w wieczór zimowy zbój Bąk, wszedłszy do chaty dla rozgrzania się, musi wysłuchać opowieści o sobie samym i uczuć wyrzuty sumienia, żal i skruchę za swe postępki.... Rzecz ożywiona jest ilustracyami, co tem więcej pociąga do książki siermiężnego czytelnika... „Wychowanka“ ożywił ołówek F. Kostrzewskiego, „Wieczór zimowy“ udatnio zilustrował C. Tański, a że język jest bez zarzutu, broszurki te na pochlebną wzmiankę w zupełności zasługują.

* *

„Russische Zustände“ — czasopisma tego wydawanego w Zurychu ukazał się zeszyt trzeci i mieści na naczelnem miejscu przekład odezwy socyalistów polskich grupy „Przedświtu“ do socyalistów rosyjskich z roku 1881, przyczem redakcya wykazuje, że grupa ta, zajmująca dziś stanowisko nawskroś narodowe polskie, w owym czasie była nawskroś kosmopolityczną. Szczególną wartość nadają zeszytowi obecnemu dwie korespondencye oryginalne z Rosyi — jedna o pierwszym spisku na życie Mikołaja II., a druga o roli, jaką gra Rosya w sprawie rozruchów ormiańskich. Rubryki „Przegląd polityczny“, przegląd prasy, drobna kronika, rozmaitości i bibliografia, jak zwykle obfite i redagowane z pewnem zabarwieniem politycznem. W odcinku podaje redakcya przekład (w wyjątkach) zapisków pewnego wyższego urzędnika rosyjskiego, Policyna, o życiu wygnańców politycznych w Sybirze. Zapiski te drukowane były niedawno w ultrakonserwatywnym miesięczniku „Ruskoje Obozrenije“ i tem bardziej zasługują na uwagę.

* **Nowe przekłady Szekspira.** Do tłomaczeń starego Willa pióra Ulricha, Koźmiana, Paszkowskiego, Ostrowskiego etc. prrybywa szereg nowych przekładów z pod pióra „najmłodszych“. Wchodzą one w skład „Dzieł Szekspira“, wydawanych pod redakcyą dr. Henryka Biegeleisena, nakładem zasłużonej „Księgarni Polskiej“ we Lwowie. Stare tłomaczenia grzeszyły — jak wiadomo — tem, że zanadto bywały czasami „klasyczne“, a Szekspir wielki, mimo barbarzyństwa, nie może się zawsze pomieścić w ramach gładkiego, wytwornego klasycyzmu. W nowem wydawnictwie, obliczonem na szeroką publiczność, tak taniością swoją, jak i objaśnieniami, uprzystępniającemi zrozumienie poety, zastąpił dr. Biegeleisen tam, gdzie potrzeba wymagała, dawne przekłady nowemi. Mamy więc „Stracone zachody miłosne“ w tłomaczeniu Edw. Porębowicza, „Opowieść zimową“ z pod pióra Stan. Rossowskiego, a przekładu Jana Kasprowicza: „Komedyę omyłek“, trzy części „Króla Henryka VI“, tudzież „Henryka V“. Imiona młodych tych sił mówią za siebie, a ich przekłady w połączeniu z przedrukami Paszkowskiego, Koźmiana i Korzeniowskiego, objaśnione pracowitem piórem Biegeleisena, który w ostatnim tomie zbiorowego tego taniego wydania umieści na najnowszych badaniach opartą biografię Szekspira, tudzież rozprawę o losach jego dzieł w Polsce — wszystko to razem wzięte czyni edycyę jedną z najlepszych i najprzystępniejszych w Europie. Zarzucić jej można korektę w pierwszych tomach niedbałą, oraz fakt, iż nie włączyła wzorowego, pełnego wierności i poezyi tłómaczenia „Hamleta“ przez Kasprowicza, wydanego ongi przez „Mrówkę“. Zresztą nie pozostawia strona zewnętrzna nic do życzenia.

* * *

* **Jan Kazimierz Zieliński.** *Wspomnienia starego kawalera. Lwów. Księgarnia H. Altenberga, 1896, str. 286.*

Gdy przed kilku miesiącami z pióra tego samego autora wyszedł tom „Szkiców“ i powieść „Ofiary“, trudno nam było dopatrzeć się w tych wydawnictwach choć tylko słabej iskierki talentu. Ani pomysłowość p. Zielińskiego, ani charakterystyka bohaterów jego, ani styl, ani psychologia nie wytrzymywały najłagodniejszej krytyki, — to też z niemałem zdziwieniem przeczytaliśmy najświeższy tom młodego autora p. t. „Wspomnienia starego kawalera“, zdradzający bądź co bądź przebłyski prawdziwego talentu.

W początkowych ustępach znajdujemy nieco urywane opowiadanie o romansie „kawalera“ w mieście gondol i dożów. Bohaterka namiętna, narwana, nie chciała się dopuścić wiarołomstwa, ale proponowała kochankowi ni mniej, ni więcej, tylko uwolnienie jej od męża za pomocą sztyletu. Kawaler uciekł i pod wrażeniem tej dziwnej awantury zakopał się na wsi. Tu po latach kilku rozpoczyna się nowy jego romans bardzo dziwaczny i oryginalny. Zbankrutowany sąsiad wmówił w niego, że powinien nabyć jego majątek i ożenić się z jego siostrzenicą Maryą, a więc, choć się złościł na obie propozycye, dał je sobie w końcu narzucić. Wprawdzie czuł on coś do Maryi, ale ona oświadczyła mu jasno i wyraźnie, że wychodzi za niego z przymusu, że go odepchnie od siebie po ślubie i zgotuje mu piekło. I dotrzymała słowa. Zamknęła się, spotykała się z nim tylko przy obiedzie. Żadne sposoby na upór jej nie pomogły, nawet chęć wzbudzenia zazdrości, bo zjawiła się właśnie owa włoszka, czy raczej zwłoszczona Polka, będąca kuzynką żony „kawalera“. Przyczyną zaś postępowania bohaterki było przejęcie się teoryą, którą Biörnson wygłosił w swej „Rękawiczce“. Powiedziała, że odda rękę tylko „uczciwemu“, według jej pojęcia, mężczyźnie, a ponieważ „kawaler“ tą uczciwością wykazać się nie mógł, a więc na nic prośby, groźby i błagania. Przyjaciel jego, kochający się w Maryi, zapewniał go, iż tego rodzaju kobieta „uzna władzę wobec gwałtowności czynu“. I po wielu przejściach i awanturach, kiedy bohater rzucił się na Maryę, aby ją zadusić, bezwiednie skorzystał z rady przyjaciela. Teorya Biörnsona spoczęła w grobie — Marya uznała władzę.

Taką jest treść najnowszej książki pana Zielińskiego, rażącej gdzieniegdzie dziwactwem fabuły, brakiem pogłębienia psychologicznego i problematycznością tendencyi, zalecającej się jednak poprawną techniką literacką i żywem opowiadaniem.

* * *

* „**Przegląd Wszechpolski**“ wychodzący we Lwowie powiększa od 1-go stycznia format, tj. zamiast dwóch będzie zawierał trzy arkusze druku.

Stały dodatek, „Przewodnik handlowo-geograficzny“ nie ulegnie zmianie pod względem rozmiarów i będzie, jak dotychczas, wychodził w objętości jednego arkusza.

Obok tego również od 1 stycznia rozpocznie się przy „Przeglądzie wszechpolskim“ wydawnictwo stałego dodatku w języku francuzkim p. n. „*La correspondance polonaise*“. Dodatek ten, objętości jedno lub półarkuszowej, stosownie do ilości materyału, przeznaczony będzie do informowania cudzoziemców, a w pierwszym rzędzie prasy europejskiej o naszych stosunkach politycznych i społecznych, o współczesnym ruchu umysłowym polskim, do prostowania błędnych pojęć o naszem społeczeństwie itd.

„La correspondance polonaise“ będzie zawierała artykuły oryginalne oraz przekłady i streszczenia artykułów „Przeglądu wszechpolskiego“, mogących mieć znaczenie dla cudzoziemców.

* * *

* **Powieści Sienkiewicza** wyszły po angielsku niemal w całości w przekładzie amerykanina p. Jeremiasza Curtin. Swojego czasu zamieściło „Atheneum“, najwybitniejszy ściśle literacki i artystyczny organ, pochlebne o nich recenzye, z pominięciem powieści „Bez dogmatu“, którą przełożyła zmarła pani Iza z Słupskich Young. Dopiero obecnie, ex re ukazania się tej powieści w francuzkiej szacie, za którą odpowiedzialnym jest hr. A. Wodziński, znajdujemy w londyńskiem „Atheneum“ następującą wzmiankę: „Sans dogme“ jest jednym z tych rozwlekłych (dull) pamiętników, które były w modzie od r. 1805 do 1820, jednakże tu i owdzie rozjaśnionym blaskami nowoczesnemi (wit) ale jakże rzadkiemi!“ Przy tej sposobności nie od rzeczy może zwrócić uwagę na francuzkie dzieło angielskiego uczonego p. t. „Jean de Lasco, reformateur protestant“ par George Pascal, który z uwielbieniem kreśli postać i dzieje Jana Łaskiego. O pracy tej zamieszcza „Atheneum“ pochlebne i dokładne, bo aż do pisowni polskiej rozciągające się sprawozdanie.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. Ministrem spraw wewnętrznych w Rosyi mianowany został p. Goremkin, a dotychczasowy oberpolicmajster Warszawy, jenerał Kleigels, otrzymał urząd naczelnika Petersburga. — „National Ztg.“ zapewnia, że pogłoski o ustąpieniu ministra stanu Boettichera, nie mają żadnej podstawy. — W dniu 18-go stycznia obchodzić będą Niemcy 25-letni jubileusz istnienia cesarstwa. Ks. Bismark obiecał współudział w wielkiej uroczystości. — Niemieckie władze policyjne rozpoczynają znów na dobre prześladowanie polskich towarzystw w Prusach zachodnich. W Grudziądzu np. oświadczył burmistrz p. Polski urzędowo, że nie ścierpi na przyszłość udziału kobiet i dzieci w wieczorkach familijnych urządzanych przez tamtejsze Tow. Przemysłowe. Odczyty, śpiewy i deklamacye, wygłaszane na takich zabawach, służą — zdaniem p. burmistrza — „wielkopolskiej agitacyi“ i dowodzą jasno że Towarzystwo pragnie wpływać na sprawy publiczne Coraz lepiej! „Nowy kurs“ święci tryumfy swoje. — Po niesympatycznem przyjęciu, jakiego doznał projekt utworzenia izb rzemieślniczych w parlamencie niemieckim, rząd, zdaniem „Nordd. Allg. Ztg.“, starać się będzie na innej drodze i w innej formie utworzyć jakąkolwiek organizacyą dla rzemiosła.

* * *

Teatr i muzyka. W ubiegły wtorek wznowiono na scenie naszej dramat Szujskiego p. t. „Halszka z Ostroga“. W tytułowej roli wystąpiła p. Paczkowska, składając grą silną i konsekwentną nowy dowód niepospolitego talentu. Wśród przedstawicieli ról męzkich wyróżniał się świetną charakterystyką typu p. Skirmunt w roli energicznego stryja i opiekuna Halszki. Na uznanie zasługują również pp. Skoraczewski, Jakubowski i Berski, oraz pani Królikowska w roli Beaty. — „Niwa“ warszawska donosi, że teatr krakowski nabył nową sztukę Lubowskiego p. t. „Przesądy“, oraz nowy dramat St. Kozłowskiego, autora „Alberta wójka“, p. t. „Turniej“. Jan Gadomski, od dawna milczący autor Larika, obiecał pono również dostarczyć w bieżącym sezonie scenie krakowskiej świeżo wykończony utwór dramatyczny. — Dramat Echegeraya p. t. „El estigma“ (Piętno) nie znalazł powodzenia w Madrycie. — Sztuce Henryka Lavedana p. t. „Les viveurs“ przyznaje krytyka dobrą charakterystykę paryzkich lowelasów i kurtyzanek obok mistrzowskiego dyalogu. — Karol Lecocque skomponował nową operetkę p. t. „Cyrano“. — Adolf Grodzki, słynny skrzypek, mianowany został dyrektorem Royal College of Music w Manchesterze. — Czteroaktowa sztuka I. K. Zielińskiego p. t. „Mira“ doznała we Lwowie średniego przyjęcia.

Rozmaitości.

Oryginalne Interview.

(Kiedy się jest sławnym...).

Rudyard Kipling, głośny romansopisarz angielski, taką o swojej sławie opowiada historyę:

— Słyszę ja raz wrzawę w przedpokoju.

— A co tam? — zapytuję służącego.

— To ten pan, proszę łaski pana, i te panie chcą wejść i nie dają się odprawić...

— I nie damy! — zahuczał głęboki bas z po za drzwi, a w tejże chwili, odepchnąwszy służącego, wszedł do mego pokoju ryży jegomość, prowadząc za sobą pięć chudych, jak piszczałki, córek.

— Czy pan jesteś Rudyard Kipling? — zaczął bas.

— Tak.

— Dzieci! To jest master Rudyard Kipling!

— Oh, papo!...

— Czy to jest pokój, w którym pan zazwyczaj pracujesz?

— Tak.

— Dzieci! To jest pokój, w którym master Rudyard Kipling zazwyczaj pracuje!

— Oh, papo!...

— Czy to jest pióro, którem pan zazwyczaj piszesz?

— Tak.

— Dzieci! To jest pióro, którem master Rudyard Kipling zazwyczaj pisze!

— Oh, papo!..

Jegomość zatyka pióro do kieszonki.

— Czy to pan sam pisałeś na tem papierze?

— Ja sam.

— Dzieci! to sam master i t. d.

— Oh, papo!...

Jegomość dzieli mój manuskrypt pomiędzy piszczałki.

Poczem basem:

— Czy więcej niema nic do zobaczenia?

— Załuję bardzo... nic więcej...

— Dzieci! Więcej nie ma nic do zobaczenia! Obejrzyjcie się raz jeszcze po mieszkaniu *największego współczesnego badacza Afryki* i pójdźmy. *Adieu!*

Dodajmy — kończy Kipling — że o Afryce wiem akurat tyle, co o księżycu, albo nawet mniej nieco.

Odpowiedzi Redakcyi.

Gal. „Światła i kwiaty“ najlepiej zapisać wprost u nakładcy p. Kozłowskiego (Poznań ul. długa nr. 8) lub w którejkolwiek księgarni poznańskiej. Co do nas to służymy wszelkiemi wskazówkami ale wysyłania książek podjąć się nie możemy.

O. Rusini własnego teatru narodowego we Lwowie nie posiadają. Od czasu do czasu odbywają się jednak w teatrze hr. Skarbka przedstawienia ruśińskiego towarzystwa dramatycznego, subwencyonowanego przez rząd galicyjski i pozostającego pod zarządem towarzystwa „Ruska Besida“.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.

Nr. 52. Poznań, niedziela 29-go grudnia 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p. Administracya: Piekary nr. 6. Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi w Poznaniu 4,00 mrk. Przyjmuje Administracya: Piekary 6. w Niemczech i Austryi 5,00 mrk. (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 mk. — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen

Treść:

Przyczynek do charakterystyki demokracyi socyalnej w Niemczech.

Po smutnych doświadczeniach 1870 r. Francuzi nauczyli się cenić zasadę, że trzeba wroga poznać dokładnie, chcąc go zwyciężyć. Poczęto bliżej przypatrywać się wschodnim sąsiadom, studyować ich urządzenia, ich kraj i ludzi, ich wojsko, sądownictwo i stosunki partyjne. W ostatnich mianowicie latach ukazała się wielka obfitość broszur, dzieł i artykułów, poświęconych państwu niemieckiemu, a niektóre z tych publikacyi odznaczają się istotnie wielkim zmysłem spostrzegawczym i obszernym materyałem informacyjnym.

W najświeższym czasie pojawił się w berlińskiem czasopiśmie „Nation“ artykuł Jana Bourdeau o niemieckiej demokracyi socyalnej, zasługujący z wielu względów na bliższą uwagę. Ujęty w feljetonowe ramy „Listu do redaktora“ zawiera on nie mało interesujących spostrzeżeń, a zaciekawić musi już przez wzgląd na samego autora, kroczącego na czele tych publicystów francuzkich, którzy lat wiele strawili nad badaniem społeczno-politycznych stosunków państwa niemieckiego. Pan Bourdeau przypatrywał się pilnie socyalizmowi niemieckiemu, a powróciwszy z wrocławskiego wiecu, zakomunikował spostrzeżenia swoje redaktorowi „Nation“ w liście następującym:

„Życzyłeś sobie, Szanowny Panie, abym się podzielił z tobą wrażeniami z wrocławskiego wiecu socyalnej demokracyi. Posiadam znacznie mniej kwalifikacyi od Pana, by sąd wydawać o socyalistycznym ruchu w Niemczech i nie roszczę sobie bynajmniej pretensyi, bym mógł Pana informować w takiej kwestyi, którą znasz dokładniej odemnie. Cudzoziemiec jednak pojmuje nieraz jaśniej znamienna szczegóły, porównując fakta obserwowane z położeniem rzeczy we własnej ojczyźnie?

Jakiż to obszar zajęły podczas lat ostatnich kwestye społeczne w polityce? Tak w Niemczech jak we Francyi wysunęły się one na pierwszy plan; rozprawiają o nich w salonach, w uniwersytetach, w teatrach, w gawędach kobiet z młodymi ludźmi, podobnie jak w ubiegłem stuleciu cieszyły się reformatorskie idee szczególną sympatyą tej właśnie klasy ludności, która pierwsza paść miała ofiarą tych idei. Widziałem w Berlinie „Don Carlosa“ i „Tkaczy“. Dwa te utwory ujawniły mi wyraźnie kontrast między oświeconym despotyzmem markiza Pozy, przyświecającym jako ideał ubiegłemu stuleciu, a socyalną demokracyą Karola Marksa, która dziś modą się stała.

Kto nie uwzględni żywego środowiska, z którego wyrósł socyalizm, ten źle go pojmuje. Socyalistyczne teorye wypłynęły w znacznej mierze z uczuć, a uczucia z wrażeń przeżytych. Łatwiej było dla szlachcica przeszłego wieku żyć w ideowym zakresie burżuazyi, niż dla *bourgeois* naszego wieku zrozumieć, co myślą robotnicy, gdyż między nimi a jego poglądami nie tylko istnieje różnica stopnia, lecz kontrast naturalny. Społeczeństwo obserwowane z góry na dół lub z dołu do góry wygląda zupełnie inaczej niż się wydaje inteligentnym stanom średnim, żyjącym w wygodnych warunkach życiowych. W takich okolicznościach z rozmaitych metod poznania klas niższych jest mojem zdaniem ta najlepszą, którą obrał wasz pastor Göhre, żyjąc trzy miesiące wśród robotników fabrycznych. Można powątpiewać, czy czas ten wystarcza dla eksperymentu jego. Przypatrywał on się jednak nagim faktom, a widok warsztatu, strejku, kongresu poucza lepiej o kwestyach socyalistycznych niż uczona rozprawa. Dodam tu, że socyaliści, zyskują przy osobistem poznaniu. Nie można wprawdzie bezwzględnie czuć dla nich sympatyi, ale nie można również tego zapoznać, że coś innego — niż masa ciemnych egzystencyi — stoi przed nami. Posiadają oni zalety i wady reszty ludzkości i z małym waryantem mogą razem z *Shylockiem* powtórzyć: „Czyż socyalista nie ma rąk, nie ma zmysłów, nie ma upodobań, nie ma namiętności? A jeżeli nas gnębicie, czyż mścić się nie mamy?“ Nasz interes polega na tem, by ich poznać, — nie, by ich wyśmiewać.

Już w pierwszym dniu mego przybycia do Wrocławia poznałem socyalistyczną solidarność. Opuściłem hotel „Pod złotą gęsią“, by poszukać dorożki. Dosyć ubogo ubrany człowiek, który słyszał, jak pytałem o mieszkanie jednego z wrocławskich socyalistów, zbliża się szybko do mnie i mówi: „Pan szuka towarzysza X. i może sam jesteś towarzyszem. Nie wydawaj Pan dwie marki na dorożkę, ja Cię zaprowadzę do tramwaju.“ Dotrzymał przyrzeczenia i polecił mnie nadto konduktorowi. Po drodze powiedział mi, że jest pomocnikiem księgarskim. W dzień kongresu, w niedzielę, spotkałem go w pięknym paletocie na jedwabiu i wśród innych okoliczności byłbym niewątpliwie tego „pierwszego chrześcijanina“ uważał za eleganckiego *bourgeois*.

Wasi socyaliści wyglądają dziwnie z mieszczańska. Moja pierwsza myśl, gdy wstąpiłem na salę kongresu, była: Czy nie są to *bourgeois?* Później dowiedziałem się, że w r. 1889, na kongresie w Paryżu tak zadziwiły naszych paryzkich robotników mieszczańskie formy niemieckich socyalistów, że początkowo wahali się uważać ich za braci, i dopiero wtedy, gdy dzięki usiłowaniom tłomaczów, przekonali się, że każdy na wskroś rozumie technikę swego rzemiosła, że zatem np. ci, którzy przedstawili się za kapeluszników, umieli powiedzieć jak się robi kapelusz, — dopiero wtedy, powtarzam, szli ramię w ramię do knajpy.

I w Wrocławiu wydarzyło się kilka wesołych nieporozumień. Spostrzegłem jakiegoś młodego delegata, którego ubiór był bardzo zaniedbany. Nosił koszulę flanelową,

bez krawaty, tylko sznurkami związaną; ku mojemu zdziwieniu dowiedziałem się, że jest on jednym z najznaczniejszych kapitalistów kongresu, zięciem bogatego bankiera i profesora przy uniwersytecie. Inny młodzieńczy delegat, zapięty aż pod szyję, z złotemi okularami, o łagodnych i skromnych manierach wywarł na mnie wrażenie kandydata teologii. Gdy socyaliści powrócili z mogiły Lassalle'a, na której wieńce złożyli, mówiłem z nim o tem, w jak wysokim stopniu ten twórca socyalnej demokracyi był hulaką i komedyantem. „To prawda — odpowiedział mi — ale mamy też innych ludzi w stronnictwie“ I wymienił mi nazwisko jednego z posłów socyalistycznych, który cierpiał na suchoty i w poświęceniu dla sprawy ludu znalazł grób przedwczesny. „Nie jestże to pięknem?“ dodał. Innnego dnia rozmawiałem z małym rudobrodym krawcem; przechodził jakiś „pan doktor“, delegat kongresowy i wtedy to widziałem, jak nizkim ukłonem witał krawiec kolegę swojego; oprócz tego opowiadał mi wiele o Liebknechcie, o jego życiu skromnem i małych potrzebach, a słowa jego przekonały mnie o nimbie, którym ten stary wódz w stronnictwie swojem jest otoczonym. Inny socyalista widział się zniewolonym pokazać mi swoje ręce grube i odcisków pełne, by mnie przekonać, że jest robotnikiem okrętowym. Zapewniał on mnie, że przeczytał Marxa „Kapitał“ od deski do deski i wierzyłem mu na słowo. Mówił też, że gdyby rewolucya na nowo wybuchła, to robotnicy nie wyciągaliby znowu kasztanów z ognia dla panów *bourgeois*. Nie spotkałem wśród delegatów robotniczych żadnego prawdziwego fanatyka. Stronnictwo składa się widocznie z lepszych robotników i postanowiło nie ręce, ale głowy rewolucyonizować, natomiast proletaryat uliczny trzymać jak najdalej od siebie.

Swój sztab generalny rekrutuje niemiecki socyalizm — o ile się zdaje — z wszystkich klas społeczeństwa: z kół uniwersyteckich, z kupieckiego obywatelstwa, z arystokracyi i i. d. Uderzyły mnie wśród członków kongresu trzy warstwy, różniące się znacznie między sobą w sposobie życia. Niektórzy uczęszczali do najlepszych restauracyi i hotelów w mieście; widziałem kilku siedzących wieczorem przy szampanie z lodu; jeden skarżył się nazajutrz na „Katzenjammer“. Spotkałem też po debacie agrarnej jednego ze zwyciężonych, szukającego zapomnienia kłopotów w uczcie wesołej. Zapewniał mnie nader żywo, że w roku przyszłym odwet swój znajdzie w Gocie. Był to akademik, jak wielu innych uczestników kongresu, młodzieniec, zachowujący zwyczaje studenckiego życia. Wszyscy ci „panowie doktorzy“ byli dla mnie bardzo uprzejmi mimo moich „herezyi“ i gawędziliśmy nieraz przy śniadaniu w najlepszych humorach. Większość kongresowiczów natomiast żyła więcej z mieszczańska. Najubożsi kontentowali się obiadem w gospodzie, kosztującym nie więcej jak 50 fenygów, a zaprawionym żarcikami z kelnerką.

W końcu, nie paląc, częstowali się prymką. Bynajmniej nie mówię o tem wszystkiem z ironią, raczej z zadowoleniem spostrzegam, że socyaliści nie są purytanami oddanymi ponurej askezie. Pożądają tylko odpowiedniego udziału w rozkoszach tego świata; obecnych stosunków społecznych nie chcą przewracać na nice, pragnęliby je tylko według swojej miary przykroić.

Przed wyjazdem do Wrocławia byłem na kongresie socyalistycznym w Limoges, złożonym wyłącznie z robotników. Ci francuzcy socyaliści tak się upili fanatyzmem równości, że dwa razy dziennie zmieniali przewodniczącego, oczywiście z obawy, żeby jednostka nie uzyskała za wiele wpływu, albo w opinii publicznej nie nabrała nadto rozgłosu. Nie pewiem, żeby kongres w Limoges na tej procedurze zyskał.

We Wrocławiu natomiast zdumiony byłem, z jaką powagą p. Singer, stały prezydent kongresów socyalno-demokratycznych kierował obradami.

Jeden z towarzyszów publicznie tam utyskiwał, że milionerów z partyi socyalistycznej otacza się za wielkim nimbem; ale skarga jego przebrzmiała bez echa.

Ton przemówień był bardzo umiarkowanym; tylko w sprzeczce między Beblem a Schipplem padł nieparlamentarny wyraz „szarlataneryа“. Mniej oględnie wyrażały się kobiety-delegatki na wrocławskim kongresie. Jedna z nich rozwijała ultra-rewolucyjne teorye z krzyczącem gadulstwem, inna była powściągliwszą, lecz mimo to niezwykle gwałtowną. Słuchacze ich wywodami więcej się bawili, niż wzruszali. Jeden z najwybitniejszych członków partyi wobec mnie z żalem oświadczył, że inaczej przedstawiał sobie emancypacyę kobiet; „lepiej, żeby kobiety wcale niemówiły“; nie mile też dotknęło, że dwie kobiety na kongresie nosiły krótkie włosy. Mówcy wyrażali się wogóle prosto i jasno, nie używając retorycznych frazesów. Bebel wykładał na publicznem zebraniu teoryę Marxa o ewolucyi ekonomicznej, która niechybnie prowadzi do kolektywistycznego porządku społecznego. Krótko przedtem słyszałem we Francyi francuskiego Bebla, deputowanego Jaures, mówiącego na podobny temat, bo katechizm socyalistyczny jest wszędzie jednaki. Różnica polegała na tem, że Jaures mówił w pięknych obrazach, a Bebel przytaczał cyfry, stwierdzające pomnażanie maszyn, ciągły wzrost proletaryatu itd. Oczywiście proroctwa co do przyszłego ukształtowania się świata, wydały mi się równie złudne na fundamencie statystyki, jak na fundamencie retoryki.

Sprawa agrarna, tak obszernie traktowana na kongresie wrocławskim, w równym stopniu zajmuje kongresy francuskie. Chodzi o to, żeby po osiągniętych już sukcesach we wielkich miastach, zdobyć ludność wiejską. Ale teorye kolektywistyczne, które zupełnie przystały do pojęć robotników wiel-

---

H. Ceysinger.

Sen artysty.

— Słuchaj, przestań ty już raz rzępolić. Co za człowiek! Od godziny wygrywa ci tę jakąś dziadowską sonatę.

— Spytajcie go, na jakim odpuście on się tego nauczył!

— Mistrzu przez szacunek dla twojej przyszłej sławy!

— Przez szacunek dla sztuki!

— Dajcie mu pić, już go znam...

— Tak, tak. Dajcie mu pić. Nic na tę artystyczną naturę nie wpływa tak kojąco jak trunek.

Obskoczyli mnie dokoła z kieliszkami w rękach, i przemocą oderwali od fortepianu. Mam zwyczaj nie oponować nigdy tak energicznie się wyrażającej woli większości. Brałem więc po kolei z rąk każdego z nich wyciągnięty ku mnie kieliszek, i spełniałem do dna. A gdy ten akt pokory i uległości z mej strony dokonany został, weseli moi towarzysze ujęli mnie pod ręce i poprowadzili do stołu, przy którym uroczystemi obrzędami, w ściśle zamkniętem kole święcić mieliśmy dwudziestopiątą rocznicę mojego przyjścia na świat. W symbolice obrzędu najważniejszą rolę grały, rozumie się, kieliszki i butelki — puchary i amfory — jak wyrażał się jeden z obecnych, chorujący zresztą na manią pisarską.

— Bierz puchar, przyjacielu! — mówił do mnie. — Spełnimy go za twoją pomyślność. Obyś grał zawsze. tylko nie wtedy, kiedy przyjaciele chcą pić z tobą.

Hałaśliwe toasty sypnęły się jeden po drugim.

— Czy nie mógłbyś powiedzieć mi, czyj był ten potworny płód natchnienia, ta okropność muzyczna, którą torturowałeś mnie przez godzinę?

— Czyj? To było moje.

— Aha! Koledzy złóżmy mu naszą zbiorową kondolencyą.

— Daj mi pokój, co ty się na tem znasz!

— Ja się nie znam, ale inni powiedzą ci to samo. Pytaj.

— Nie przypominajcie mu lepiej. Patrzcie, jakie ma oczy zamglone, jak zwykle, gdy go muzyka opęta. Gotów znowu zacząć grać.

— Ciebie jednego pytam, czy i tobie ten kawałek się nie podoba.

— A przyznam ci się, że nie słuchałem, Władek tyle plótł tymczasem. Z tego jednak, co mi dolatywało do uszu, zdaje mi się, że to dziwactwo jakieś, coś dzikiego. Gdzieś to pochwycił?

— Widzisz, to było w Bretanii...

— Bretanii! — ozwał się cały chór. — Dosyć! Nie chcemy słyszeć nic więcej. Zdrowie twoje!

I znowu zahuczały toasty, podniosły się śmiechy, okrzyki, wrzawa.

— Widzisz, nie wschłuchałeś się dobrze — usiłowałem tymczasem przekonać jedynego w towarzystwie znawcę. — Opowiem ci jak to powstało. Nad morzem...

— Daj pokój. Lepiej trąćmy puchary.

— Ale posłuchaj, przecież ty poetą jesteś podobno — mówiłem błagalnym głosem, bo spełniane jeden za drugim puchary nastroiły mnie dziwnie na miękki, melancholijny ton — powinieneś to zrozumieć, odczuć...

— Pij bracie! — odpowiedział mi na to — Pij i nie mów nic. Muzykus każdy źle robi, jak zaczyna mówić.

Ha, więc piłem, a raczej piliśmy. Amfory wypróżniały się jedna za drugą. Poeta nasz wpadł w liryzm, i całując nas wszystkich zapewniał ze łzami, że co do niego, on nie ma najmniejszego talentu, że za to ja jestem duszą wielką, twórczą, artystyczną, jak tego dowodzi ten prześliczny urywek, grany przezemnie przed chwilą.

— Klękam przed tobą — mówił, usiłując naprożno zamienić słowo w czyn.

Wszystkim nam potężnie szumiało w głowach Ktoś zanucił jedną ze znanych powszechnie piosenek. Pochwycili ją inni, i zerwała się burza młodzieńczych głosów, silna, nieokiełznana.

Jedną po drugiej, przypominano sobie najrozmaitsze melodye, śpiew płynął i w ciszy nocnej rozchodził się daleko. Mnie tylko melodyi śpiewającemi nie było. Mnie w uszach szumiała jeszcze wciąż tamta, wzgardzona, obca, sieroca piosenka. Taka była dzika, taka smutna — i z takiej jak mi się wydawało niezmiernej dali czasów szła ku mnie.

Powoli słabły głosy i milkł śpiew. Wreszcie rozeszli się wszyscy. Pozostały po nich tylko jakby echa poplątanych słów, śmiechów, okrzyków. Byłem znów sam, sam z moją pieśnią.

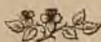
Usłyszałem ją pierwszy raz w Bretanii, w Bretanii mglistej, melancholijnej, cichej. Codzień przed wieczorem wychodziłem nad

kiego przemysłu, nie trafiają do przekonania chłopów; w rzeczy samej poglądy chłopów stanowią raczej kontrast. Francuscy Marksiści uniknęli tych trudności, układając dwa programy, jeden dla miast, drugi dla wsi. Będąc przeciwnikami własności prywatnej, apostołują po wsiach różnicę między wielką a małą własnością; ten brak logiki słusznie wytyka im Engels.

Niemcy postępują sumienniej: kiedy obradowano we Wrocławiu nad programem agrarnym, stawili Marksiści pytanie, czy program agrarny zgadza się we wszystkich punktach z ewangelią „Kapitału“ i komunistycznego manifestu. I zwycięstwo zostało przy nich. „Nie chcemy — mówili oni — powstrzymywać ewolucyi, wiodącej drobną własność do ruiny“. Jak czystej krwi Manchesterczycy głosili politykę laisserfairyzmu!

Na tego rodzaju kongresach plączą się oczywiście nieraz kwestye zasadnicze z kwestyami osób. I nie może być inaczej, bo abstrakcyjne idee mają swoich rywalizujących nie pozbawionych egoizmu przedstawicieli. Nie uwzględniając tego, trudno byłoby nieraz zrozumieć głosowania pewne. Dla czego umiarkowany socyalista X. głosował zgodnie z najczerwieńszymi? „Bo głosuje zawsze przeciw towarzyszowi Y.“ — odpowiedziano mi. Inny znowu, urażony dyktatorskim tonem jednego z przewodników, tak do mnie mówił: „Mamy wiele szacunku dla niego, ale musimy mu przecież pokazać, że posiadamy własne przekonania“. Zauważyłem, że we Francyi delegaci od swoich wyborców otrzymują zwykle t. zw. *„mandat impératif“*. „My nie przyjęlibyśmy takiego mandatu“ — odparł delegat niemiecki.

Mimo tych znacznych różnic między jednostkami tworzy partya socyalno-demokratyczna w Niemczech związek o dyscyplinie żelaznej. We Francyi rozpadają się socyaliści na rozmaite niezawisłe odłamy, noszące nazwy swoich przewodników: blankiści, broussyści, alemaniści, guesdyści. Każdy z tych odłamów ma odrębną organizacyę i taktykę, i walczy na swoją rękę z obecnym porządkiem społecznym. „Gdyby Guesdyści doszli do władzy“, — mówił do mnie raz alemanista pewien, — „toby nas zaprowadzili na gilotynę“. Innym razem słyszałem jak pewien guesdysta nazywał alemanistów pogardliwie *„manuelards“* (rękodzielnik), w przeciwieństwie do guesdystów, uważających siebie za „pracujących głową“. Ale mimo tego rozłamu i mimo swej stosunkowo małej liczby — we Francyi jest 600,000, w Niemczech około 1,800,000 wyborców socyalistycznych, — mają socyaliści francuzcy wskutek wielorakich stosunków z radykałami większy wpływ polityczny, i opanowali na mocy ogólnego prawa, głosowania zarządy gminne. W Niemczech składa się socyalno-demokratyczna partya z głównie radykalniejszych żywiołów mieszczańskich i z robotników, i jest zbiornikiem wszelkich malkontentów, których liczba powiększyłaby się niewątpliwie z chwilą, gdyby poważne niebezpieczeństwo zagrażało polityczno-społecznym swobodom. Wy tam w Niemczech macie przestarzałe urządzenia polityczne i wyrobiony zmysł krytyczny, lecz naród niemiecki jest cierpliwszy od francuzkiego“.





Przegląd prasy polskiej.

Krakowska młodzież akademicka. Pod takim tytułem ukazał się w „Kuryerze Lwowskim“ artykuł następujący:

„Gdzie się podziała nasza młodzież akademicka?“ — oto pytanie, które obecnie bardzo często słyszeć się daje w Krakowie. Stawiają je przedewszystkiem ci, którzy przed laty na uniwersytet krakowski uczęszczali i pamiętają świetne czasy akademików krakowskich. Młodzież żyła. Uczyła się, trochę politykowała w swojem kółku i bawiła się. Dzisiaj od czasów smutnej pamięci rektorstwa prof. Korczyńskiego, kiedy to na życzenie i wezwanie senatu akademickiego policya krakowska nad młodzieżą swą władzę i opiekę rozciągnęła, gdy zaczęto młodzież gnębić rewizyami, prześladowaniem i szykanami, gdy każdego goretszego nieco młodzieńca ogłoszono „socyalistą“ i „Polizei“ zaczęto wołać — obumarł, — można powiedzieć — duch młodzieńczy wśród młodzieży; zmaltretowana i zgnębiona przestała się bawić, politykować, a czy się cieszy? — nie wiadomo, Stańczyki zatarli ręce z radości — dzieło dokonane; młodzież bezsilna. Ogarnął ją duch zniechęcenia i apatyi i przechodzi z roku na rok ze starszych na młodszych. Rozchodziło się stańczykom o wypuszczenie goręcej krwi z żył młodzieży, o wytępienie wśród niej ideałów, o zgaszenie miłości ojczyzny — i niestety — po części udało im się dokonać dzieła. Będą też kiedyś zbierać owoce swej pracy. Część młodzieży akademickiej w Krakowie prześcignęła w stecznictwie swoich profesorów. Rośnie falanga gasicieli ducha, serwilistów i lokajów których ideałem życia i dążności: gwiazdka, kołnierz lichem złotem szamerowany i order.

Dość długi czas po rozwiązaniu Czytelni akademickiej młodzież wogóle żadnego znaku życia nie dawała. Wszystko spało. Był czas, iż się zdawało, że w Krakowie nie ma uniwersytetu. Dopiero niedawno ocknęła się grupa młodzieży postępowszej i wstydząc się stanu apatyi, ogarniającej ogół, a prowadzącej powoli, niepostrzeżenie do upodlenia, postanowiła dać znak życia. A mając już dość rodzicielskich rządów senatu akademickiego, postanowiono nie zakładać Czytelni, lecz utworzono po za władzą uniwersytecką „Zjednoczenie“. Tutaj skupiły się wszystkie zdrowsze żywioły wyższych szkół krakowskich. Reszta młodzieży pozostała dalej w dawnej apatyi, część tylko skupiła się w czysto klubowych bezbarwnych „kółkach“ medyków i prawników. Nowa ta organizacya, rozpraszająca siły, pozostaje naturalnie w tyle po za dawną Czytelnią, którą prawdopodobnie na długo pogrzebano.

Na tem tle ogólnej apatyi jednakże w ostatnich czasach zaszły dwa wypadki, które poruszyły nawet najospalszych i można je uważać za przewodników lepszych czasów. Pierwszym były wybory zarządu „Pomocy bratniej“, jedynego obecnie towarzystwa akademickiego, skupiającego ogół słuchaczy uniwersytetu. Walka stronnictw, ścieranie się zasad i dążności, straciwszy swój naturalny grunt, jaki stanowiła Czytelnia, przeniosły się do „Pomocy bratniej“. Wynik wyborów przyniósł klęskę młodzieży stańczykowskiej, świetne zwycięstwo odniosła młodzież polska postępowa. Młodzież, której przy każdej sposobności kneblują usta, tutaj przynajmniej chciała dać wyraz swoim zapatrywaniom, a tem samem zacząć praco-

---

brzeg morza i patrzyłem jak fala jego rozbija się o białe przybrzeżne skały. Aż jednego razu, gdym tak stał pod tchnieniem wichru morskiego, wydało mi się, że słyszę jakąś smętną dziwaczną melodyę. Zaczynały ją niby żałosnym krzykiem mewy, których stada skrzydlate wirowały nad skałami, potem tym mewom białym porykiem fal, głuchym, głębokim porykiem odpowiadało morze, potem nagle wicher zaśpiewał jakąś straszną, przeciągłą skargę, jakby jakies wołanie o pomoc, któremu fale oceanu odpowiedziały z dala: oto idziemy. I powtarzało się to kilka razy. Wicher wył, szamotał się, zrywał, a fala basowym tonem huczała groźna. Od czasu do czasu odzywał się żałosny płacz białoskrzydlatych mew. I była w tem wszystkiem jakaś melodya ogromna, dzika, urywana, taka żałosna, taka jakaś szczególna, jakiej nie słyszałem nigdy.

Od tego wieczora, spędzonego nad brzegiem morza, chodziła za mną ta pieśń dziwaczna dzień cały, dźwięczała mi w uszach i prosiła się: weź mnie.

Więc wziąłem ją. Jak inni odłamek skały lub kwiatek, tak ja ją zabrałem sobie na pamiątkę.

Ile razy potem zagrałem ją, przed oczami wstawały mi zaraz białe skały nadbrzeżne i mewy skrzydlate, daleki przestwór oceanu i smutne barwy jesiennego wieczoru Bretanii. Dziś po raz pierwszy pozwoliłem jej zadźwięczeć przy ludziach, i ludzie obrzucili ją urągowiskiem, słuchać nie chcieli. Kto ty jesteś piosenko-sieroto? Kładę ręce na fortepianie, melodya twoja, melodya mórz, wichrów jesiennych i mew płynie mi z pod palców. Oto znowu jak wtedy ptaczem zanoszą się mewy, basowym tonem odpowiada fala, wicher zrywa się i szumi przeciągle... To już nie ja gram, to przyroda. Bretania gra sama... w powietrzu tak szaro, tak mglisto... a pieśń dźwięczy i dzinwym wojowniczym rytmem się łamie... jak tu mglisto, jak dziwnie... widma jakieś wstają dokoła... to pieśń ta stara zamarły jakiś świat wywołała z mogiły. Co za postacie? Tuż przedemną, człowiek czy cień? Olbrzym-wojownik stoi, skórą zwierzęcą okryty, nagim ramieniem o maczugę drewnianą się oparł i słucha pieśni... oczy żarem mu płoną, pierś się podnosi... potrząsa głową, której włos długi, płowy spada mu na ramiona... za nim cieniów podobnych wstają zastępy... Co za perspektywa daleka otwiera się przed moim wzrokiem... błonia mgłami zasłane, a na nim wojowników dzikich gromady, a za nimi kobiety ich w długich białych osłonach niby mew morskich stada. Pieśń rytm wojenny przybiera, wojownicy podnoszą maczugi, ogień tryska im z oczu, pieśń przyspiesza tempo... Ruszyli pędem i zniknęli w szarych mgłach. Teraz tylko morze huczy z dala, kobiet białe postacie słaniają się po polu, i słychać długi, przeciągły lament mew.

Cisza.... nic już nie dźwięczy, i nie ma pola zasłanego mgłami, i wojowników tych ni niewiast ich nie ma. Siedzę na tem samem miejscu, gdzie zostawili mnie przyjaciele odchodząc. Nie grałem wcale. To sen był tylko. Sen... ale teraz już wiem, kto ty jesteś piosenko-sieroto!

Byłaś kiedyś hymnem wojennym i płaczką pobojowisk jakiegoś dawno zmarłego plemienia, jakimś ludom pierwotnym przyspieszałaś uderzenia serca, zwiększałaś siłę ich ramion, krew pędziłaś do głowy. A teraz ty jesteś pieśń-duch, i nie wywoływać mi ciebie z twojej mogiły. Nowym ludziom nowych pieśni potrzeba.

Hej, dużo smutku natrząsł mi ten sen na duszę. I my pomrzemy, o pieśniach naszych zapomną ludzie, którzy przyjdą po nas. I pieśni nasze pomrą. Umrzesz i ty, co ojców naszych wiodłaś w dym armatni, a nas niewolników pochylonych w jarzmie wstrząsasz dreszczem pragnień silniejszych niż śmierć, kochanko dusz naszych, piosnko legionów, kiedyś, kiedyś umrzesz i ty!

Rozpłyniesz się tak samo we wszechświecie dźwięków, rozłamiesz na tony pojedyncze. Jednym tonem szumieć będzie wicher po dolinach, drugim jęczeć będzie fala morska, trzecim piorun huczeć będzie w chmurach, czwartym skarżyć się będą drobnego deszczu krople, a resztę ptaszęta leśne rozbiorą pomiędzy siebie na kołysanki dla piskląt, na piosnki miłosne... I choć je kto kiedy znowu złączy razem, choć pieśń-ducha wywoła, na niczyje lica pobladłe nie wystąpią od niej rumieńce zapału, nikomu na jej dźwięk pragnieniem wolności nie uderzy serce, w niczyjej duszy nie rozkołyszą się jej tony niby dźwięki tonu wzywającego na bój.

I czemu to tak? Czemu to, co dla jednych było piękna zaklęciem, dla drugich, dla ich synów odległych jest pustem brzmieniem, bez ducha? Czemu wszystko musi mieć swój koniec, czemu wszystko umrzeć musi? Czemu nawet pieśń?



wać nad naprawą opinii młodzieży krakowskiej. Prezesem wybrano Bielewicza, tego właśnie, który w żywieckiem przyczynił się dzielnie do zwycięztwa ludu przy wyborach ostatnich do sejmu. Wiadomość o wyborze Bielewicza nabawiła niektórych stańczyków febry.

Drugą sprawą, która poruszyła umysły młodzieży, był wieczór na cześć Mickiewicza. Uroczystość ta piękna i wzniosła, przed laty przez młodzież w zwyczaj wprowadzona, była zawsze dorocznem świętem młodzieży. Tym sposobem czciła ona jednego z najpiękniejszych myślicieli narodowych, wieszcza polskiego i wielkiego orędownika wolności uciemiężonych ludów.

Najważniejszą częścią uroczystości było zawsze przemówienie przedstawiciela młodzieży. To była jedyna prawie sposobność, gdzie reprezentant młodzieży imieniem jej wypowiadał wyznanie wiary. O wolność słowa toczyła też młodzież co roku walkę ze wstecznym senatem, bardziej austryackim aniżeli sama Austrya, bardziej policyjnym aniżeli policya krakowska.

W roku bieżącym, gdy nie stało czytelni, która wieczorki mickiewiczowskie urządzała, chór akademicki na własną rękę, bez porozumienia się z ogółem młodzieży, a więc bezprawnie urządził wieczór Mickiewiczowski i porzuciwszy dawną tendencyę piękną i rozumną, tego roku na prelegenta zaprosił — wiecie kogo? — hr. Stanisława Tarnowskiego(!) Kilku z urządzających uspokoiło swe wyrzuty sumienia tem, że to dla dobra kasy. Oportunizm zatem wziął górę. Z miejsca, zkąd głos przedstawiciela młodzieży przemawiał z serca do serc, gdzie się dawał co roku słyszeć hymn uwielbienia dla wieszcza i program pracy młodego pokolenia, teraz zabrzmiał głos dystyngowanego hrabiego z ulicy Szlak. Stańczyków opuściła febra — senat się uradował — członkowie „Chóru" mają zapewnione egzamina.

Oburzony ogół młodzieży zaprotestował, jak się tego można było spodziewać, przeciwko postępowaniu garstki, która nigdy nie może, bo nie ma prawa, reprezentować całej młodzieży akademickiej.

Protest młodzieży brzmi:

„Podpisani akademicy oświadczają, że z wieczorem Mickiewiczowskim, urządzonym 2go grudnia przez Chór akad., Tow. liczące ledwie kilkudziesięciu członków — ogół akademików nie ma nic wspólnego, że zatem i wybór osoby prelegenta, który padł na hr. Stan. Tarnowskiego, nietylko nie jest wyrazem przekonań większości akademików, ale przeciwnie z przekonaniami ogółu młodzieży stoi w rażącej sprzeczności".

Protest ten podpisało **302** akademików.

* * *

* **Nowa gazeta germanizacyjna.** W miejsce redagowanego przez księży, a służącego germanizacyjnym celom „Kuryera Górnoszląskiego" zacznie niebawem wychodzić w Królewskiej Hucie pismo identycznego kierunku, lecz pod innym tytułem. Na czele nowej „gazety katolickiej" stanęli znani z nienawiści do Polaków kapłani. Bytomski „Katolik" takie tej sprawie poświęca uwagi:

„Gazeta Katolicka" jest wprost wymierzona przeciwko „Katolikowi" w pierwszym rzędzie, jak „Kuryer" był w pierwszym rzędzie przeciwko „Nowinom Raciborskim". Dzielni abonenci „Nowin" nie opuścili swej gazety. Nie wątpimy, że abonenci „Katolika" tak samo dzielnymi się okażą. Każdy czytelnik nasz powinien uważać sabie za punkt honoru pod żadnym warunkiem „Katolika" nie odstąpić, albowiem byłby to znak tchórzostwa i niestałości.

Ile razy nowa polska gazeta zaczyna wychodzić, tyle razy niemieckie gazety gniewają się o to. W tym razie inaczej. Niekatolickie i niemieckie gazety z radością piszą o nowej katolickiej i polskiej gazecie i życzą jej szczęścia. Jeżeli jej te gazety śpiewają tak radośnie przy narodzinach, to można sobie pomyśleć, czego się po nowej gazecie spodziewają.

Dla „Katolika" sprawa jasna: Niech będzie nowa gazeta w Król. Hucie; niech będzie dziesięć innych nowych gazet; „Katolik" ani cala nie zejdzie z tej drogi, jaką idzie od dawna. Z Bogiem za sprawę ludu katolicko-polskiego!"

* * *

Polecany z wszystkich ambon poznańskich „Przewodnik Katolicki" ogłasza, że od Nowego Roku zaprowadzi także dział polityczny. W obec tej zapowiedzi takie wypowiada uwagi w nr. 296 „Orędownik":

„Na to można było być z góry przygotowanym. Stosunki płyną same i ułożą się tak, że katolicki „Przewodnik" nietylko będzie podawał ceny targowe i inseraty, ale także nowiny polityczne, teraz raz na tydzień, potem 2 razy, potem 3 razy, a w końcu może i co dzień. Księża wywierają teraz wielki nacisk, żeby abonowano „Przewodnika", zajmującego się dotąd wyłącznie sprawami katolickiemi, potem spracują się jeszcze więcej, jak zaczną polecać artykuły polityczne „Przewodnika".

Dalszy rozwój stosunków po parafiach leży jak na dłoni.

Ponieważ „Przewodnik kat." od Nowego Roku stanie się pismem politycznem, przeto dobrze wiedzieć, że nakład pisma tego jest — w kancelaryi Arcybiskupiej, a redaktorem jego ks. Klos z Poznania."

W nr. 296 „Orędownika" czytamy:

„W Inowrocławiu w niedzielę rano przed wotywą — pisze „Dzien. Kuj." — oznajmił w kościele św. Mikołaja ks. prob. Laubitz, że odtąd z rozporządzenia Władzy kościelnej dyecezyalnej wygłaszane będą z kazalnicy w inowrocławskim kościele św. Mikołaja — obok istniejących już niemieckich kazań miesięcznych — jeszcze takież nauki w każde drugie święto głównych świąt tj. w drugi dzień Bożego Narodzenia, Wielkiejnocy i Zielonych Świątek rano przed wotywą. Oprócz tego każdej niedzieli na nabożeństwie rannem będzie odczytana ewangelia w niemieckim języku bezpośrednio po kazaniu polskiem, a nadto i sprawy parafialne bieżące również nie tylko po polsku, lecz także i po niemiecku obwieszczane będą.

O powyższem rozporządzeniu konsystorskiem uwiadowił kapłan zebranych w języku polskim i niemieckim. Gdy je czytał, powstało w kościele poruszenie i wielu zgromadzonych wyszło ze świątyni, nie czekając końca orędzia.

Agitatorzy, którzy niby to w imieniu garstki tutejszych „dojczkatolików" zwoływali wiece i wysyłali petycye, postawili przeto na swojem i dzięki ich zabiegom dostaje się język niemiecki do ostatniego schroniska publicznego, gdzie mowa polska mogła się przytulić.

Dalej pisze „Dzien Kuj.":

„Co do zmiany samej, o której powyżej mowa, nie twierdzimy, aby w zasadzie przeciwko niej ktokolwiek mógł słusznie występować. Latem powiedzieliśmy w dłuższym artykule wyraźnie, że żądania tutejszych „dojczkatolików" są zasadniczo usprawiedliwione. To tylko nadmieniamy, że agitatorzy nie powinni byli tak bardzo naglić. Należało raczej zaczekać, aż stanie nowy kościół, na który czekamy".

Nie miłe to zajście; z naszej strony nie robimy żadnej uwagi, bo stosunków bliżej nie znamy, tyle wszakże każdy widzi, że co się stało w Inowrocławiu, to się niebawem stać może także gdzieindziej, i że nawet kościoły nasze nie będą ostatniem schroniskiem publicznem dla mowy polskiej, jak się „Dzien. Kuj." wyraża.

W naszych kościołach może niezadługo wyglądać tak, jak dziś wygląda w górnośląskich kościołach".



Sztuka w Poznaniu!

Przyjrzyjmy się salonom mieszkańców miasta i prowincyi. Oprócz starszych za-

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego dnia, dziewczęta wyszły nad wieczorem do miasta, Borajski udał się na posiedzenie do ratusza i w domu nie było nikogo. Smolarz, zmęczony po całodziennej pracy, przyszedł do swego pokoiku, aby się przebrać i wypocząć, nim go wezwą na kolacyę. W chwili, gdy po umyciu się i uczesaniu i przebraniu odzienia, skręcił cygaretko i zamierzał położyć się i wyciągnąć na staroświeckiej kanapce, do pokoiku weszła pani Borajska.

— Pan sam? — zagadnęła na progu.

— Sam, proszę pani.

— Myślałam, że jest Łasicki.

— Jeszcze go nie ma.

Weszła.

— Zmęczony pan?

— Nie, wcale nie.

Pani Borajska usiadła na szerokiej kanapie.

— Dziewczęta wyszły na miasto. W całym domu nie ma żywej duszy, nawet zagadnąć nie ma do kogo — bąknęła niby rozgniewana. Siadaj pan.

Smolarz posłuszny wezwaniu, usiadl obok na krzesełku.

— Co pan masz białego na ręce?

— Nic, proszę pani, to papieros.

— Myślałam żeś się pan skaleczył i że to biała szmatka na palcu.

— E nie, to tylko papieros, proszę pani.

— Ja bardzo lubię dym z cygar...

— No... cóż?! ja także.

— Pokaż pan swoją rękę.

Smolarz wstał i wyciągnął prawą rękę, chowając lewą z papierosem za siebie. Pani Marcysia ujęła ją i pociągnęła chłopca ku sobie.

— Siadaj-że pan raz — zawołała wesoło. — Pogadamy trochę.... Pan mnie się boi, czy co?

Smolarz usiadł na kanapie.

— Pańska siostra będzie kiedyś bardzo dobrą żoną. Anulka jest daleko lepszą od Loli. Łagodne to, pracowite, wesołe, a oczy ma całkiem podobne do pańskich.

Tu spojrzała w oczy Franciszkowi i poczęła uśmiechać się zalotnie.

— Pan masz bardzo przyjemne oczy!

— Ja, proszę pani?

— Tak, pan.

— Gdzież tam, jakieś rude czy siwe, cóż, nawet sam nie wiem.

— Mnie się właśnie takie podobają. Zresztą mówię szczerze: Pan masz w sobie coś takiego, co się każdej kobiecie podobać musi...

— Cóż znowu? pani żartuje. Ja się komu podobam? ja?

— Skromny pan jesteś. Ale właśnie to mi się najwięcej w panu podoba. Odetchnęła, jakby nie mogła tego wypowiedzieć, o czem myślała. Naraz porwała go za obie ręce i zawołała:

— Bo ja pana kocham... cha, cha, cha! — zaśmiała się, a ściskając kurczowo ręce Smolarza, pochylała wśród śmiechu głowę prawie aż na jego piersi.

Smolarz odsunął się i powstał.

Pani Borajska nie zbyt jednak urażona chłodnem przyjęciem tego wyznania, śmiała się dalej, pytając przerywanemi słowy:

— Czegożeś się pan tak przestraszył?

Smolarz wyglądał istotnie jak zając, któremu nagle przerwą drzemkę w miedzy.

— Ja, proszę pani — bąkał ogłupiały — ja... no cóż? pewnie, ale to jakoś dziwnie wygląda. Odszedł w drugi kąt pokoju i oparł się o ramę okna.

Teraz dopiero powstała pani Marcysia z kanapki, a zatrzymawszy się przed niewielkiem lusterkiem, wiszącem na ścianie, przed którem poczęła palcami poprawiać rozburzone nieco włosy, spoważniała i rzekła w tonie na pół złośliwym:

— Dziwnie to wygląda, mówisz pan? no, proszę!

Odwróciła się szybko.

— Ja tak tylko żartowałam — rzuciła, a podszedłszy ku niemu i pogładziwszy go obiema rękami po twarzy, dokończyła: Oj, jakież z pana jeszcze dziecko! Boże! Nie mów pan o tem nikomu, to były tylko żarty.

Opuściła pokój.

Smolarz usiadłszy na krześle, począł dyszeć i rozmyślać nad tem, co zaszło.

— Aha, żarty, dobre mi żarty — za-

bytków sztuki, najliczniej przez portrety stare reprezentowanych, zaledwie tu i owdzie spotkać się można z obrazem lub obrazkiem nowszego pendzla; natomiast nieomal w każdym domu porozwieszano po ścianach oleodruki, heliograwury i innego rodzaju reprodukcye, świadczące o niewyrobionem poczuciu piękna i guście. Reprodukcye lepsze są dosyć drogie, a niszczeją bardzo prędko; po kilku latach obraz przestaje być ozdobą mieszkania i kwalifikuje się na śmieci. Oprócz straty pieniędzy, niemiłem i nudnem zarazem jest dla oka, spotykać się wszędzie, gdzie się zajdzie lub zajedzie, z tym samym obrazkiem, który się codziennie u siebie na ścianie widuje.

Z oryginałem ma się rzecz inaczej — posiadamy go wyłącznie dla siebie — wartości nie traci, ale na niej nawet zyskać może, nadto nie niszczeje tak prędko.

W miejscowych warunkach nie można się dziwić owemu brakowi gustu i nie wyrobionemu poczuciu piękna u tutejszej publiczności.

Gust i znajomość rzeczy, wyrabia sposobność częstego widywania dzieł sztuki różnych artystów, mianowicie wystawy i galerye, a także dobra i umiejętna krytyka. Jednego i drugiego brakuje nam w Poznaniu. Mamy tu w prawdzie galeryę obrazów w Muzeum Mielżyńskich, bogatą nawet w cenne dzieła starych mistrzów — w dziale jednak współczesnych malarzy ubogą jest i pod względem autorów z wybitniejszym talentem i pod względem reprezentacyi nowych prądów i dróg, jakiemi sztuka do ciągłego rozwoju dąży. Te rzeczy widzieć mogą tylko ci, którzy zwiedzają galerye i salony sztuki Paryża, Monachium a obecnie i Berlina.

Dalej mamy w Poznaniu staraniem najwybitniejszego tutejszego miłośnika sztuki hr. Wawrzyńca Benzelstjerna-Engeströma filię krakowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. Prawdziwe uznanie i wdzięczność należą się hr. Engeströmowi, który, pomimo trudnych bardzo warunków, nie ustaje w pracy, by zaznajamiać publiczność z nowszemi dziełami sztuki polskiej i obcej.

Cel ten jednak w małym tylko stopniu osięgniętym bywa, a to z powodów następujących:

Pierwszym i najważniejszym jest pewna apatya ze strony publiczności na punkcie interesowania się i zwiedzania wystawy w teatrze polskim, —

powtóre, że na wystawie tej rzadko kiedy pojawiają się dzieła naszych pierwszorzędnych talentów jak Brandta, Szymanowskiego, Gierymskiego, Chełmońskiego, Grocholskiego i wielu innych, którzy zdobywają laury i sławę polskiej sztuce w centrach świata, a o których w Poznaniu nic nie wiedzą do tego stopnia, że często kiedy w rozmowie wymieni się jedno z powyższych nazwisk — pytają „kto to? zkąd? — i, jak jego matka z domu?“

po trzecie, że kompletny brak pokupu dzieł sztuki odstrasza artystów i zniechęca do przysyłania obrazów na tutejszą wystawę, co zmusza Dyrekcyę do zawieszania czasem dyletanckich kopii z oleodruków, by zakryć ściany.

Nadzwyczaj szkodliwie działają na wykształcenie gustu i poczucia piękna u publiczności handlarze obrazów. W oknach sklepowych tych przedsiębiorców widuje się ustawicznie banalnie piękne buzie, manierycznie rysowane i słodko malowane — sceny czułe, lub banalniejsze jeszcze, z kotkami pijącemi mleczko z jednej miski z dziećmi i t. p. Wszystko to są reprodukcye z obrazów niemających żadnej artystycznej wartości, obliczone na gust tej publiczności, której jeszcze reprodukcye się podobają, — obrazów malowanych pod dyktandem handlarzy (Kunst-Haendler), wyzyskujących talent i pracę malarzy, których złe położenie materyalne, w tę otchłań wyzysku wepchnęło.

Równie szkodliwą jest u nas i krytyka. Często wychwala obrazki dyletanckie, kopie z reprodukcyi, portrety mizernie z fotografii malowane, a wystawiane po oknach sklepowych, takim doborem wyrazów, że z rzeczy marnej robi arcydzieło, zaś z wykonawcy znakomitego artystę lub artystkę. — Ciekaw jestem, jakich użyłaby wyrazów — gdyby jej prawdziwe arcydzieło ocenić przyszło?

Do oceniania obrazów używa wyrazów ktore nibyto o fachowej znajomości rzeczy świadczyć mają, a które w istocie nic nie oznaczają dla szerszej — w gwarę pracowni malarskich niewtajemniczonej publiczności.

Największą wagę przywięzuje tutejsza krytyka do tematu, a nie do istoty obrazu, tj. do wykonania. Pisząc o obrazie, pisze głównie o malarzu, co on myślał, co on czuł w czasie pracy, jakie natchnienia miał, a bardzo mało o tem, jak te czucia, myśli i natchnienia — malarskiemi, technicznemi środkami, na obrazie urzeczywistnił. Jestem prawie pewnym, że gdyby na wystawie tutejszej ukazał się obraz, przedstawiający jakąś żywo interesującą scenę, składającą się np.: z trzech figur, któreby malarz z trzech stron oświetlił — to krytyka opisałaby obszernie i temat i malarza — a błędów w oświetleniu nie zauważyłaby.

Skutki takiej krytyki są tego rodzaju — że publiczność zachęcona spieszy oglądać rzecz zachwaloną; — inteligentniejsza połowa publiczności nie znalazłszy podniesionych w krytyce zalet, rozczarowana traci do niej zaufanie, — mniej inteligentni polegając na zdaniu krytyka, a patrząc na rzecz średniej wartości lub bezwartościową — wyrabiają sobie fałszywe kompletnie pojęcie o sztuce.

Dla tego też krytyce na koniku protekcyi jeździć nie wolno, jeżeli za poważną i bezstronną chce uchodzić. Nie narzucajmy naszego gustu i sympatyi drugim, ale bezstronnie podnieśmy zalety i wykażmy usterki dzieła, które oceniamy, a tem samem oddamy najlepszą przysługę i publiczności i autorowi obrazu.

Handlarze obrazów i dzisiejsza krytyka zrobiły to, że dzieła sztuki u nas są kwalifikowane albo na „prześliczne“ albo na „brzydkie“: zapomniano o tem, że w sztuce koniecznie co ma być „prześliczne“ to musi być „dobre“. Gdy dzieło sztuki jest „dobre,“ choć nie jest „śliczne,“ będzie zawsze dziełem sztuki, czego powiedzieć nie można, gdy rzecz ma się odwrotnie.

M. Skibiński.

---

mruczał — ja nie takie dziecko, jak się pani zdaje. Ale ja wiem com komu winien, a stary Borajski był dla mnie drugim ojcem. Pewnie, że nikomu nie powiem, jednak nie o panią mi chodzi, tylko o niego.

W miarę rozmyślań, występowała pani Borajska w coraz gorszem świetle. Dawniej opowiadała mu Anulka niejedno o niej, lecz on nie bardzo dowierzał słowom niedoświadczonej siostry. Zastanawiało go wprawdzie, że panna Lola czerwone nieraz miała oczy podczas kolacyi, a pani Marcysia nachmurzywszy czoło, nie przemówiła do niej ani słowa, lecz z drugiej strony, jeżeli pani Borajska była taką złą i jak twierdziła Anulka prześladowała Lolę, to czemuż nie dokuczała nigdy jej samej? Gdy więc opowiadała mu Anulka cichaczem na uboczu o wielkiej wojnie domowej między Lolą a macochą, która trwać miała przez cały ranek lub poobiedzie, usprawiedliwiał Marcysię przed siostrą i nakłaniał ją, aby była posłuszną i pracowitą, a podczas utarczki domowej cicho siedziała w kąciku.

Teraz wszystkie opowiadania Anusi żywo stanęły mu w pamięci. W ślad za temi przyszły także inne myśli.

— Muszę ztąd iść, muszę jak najprędzej! Anulkę oddam do Szelągów albo do Wywrotów na stancyę, sam zaś pojadę do Pragi. Ztamtąd będę jej posyłał na utrzymanie.

I byłby to niechybnie zaraz zrobił, gdyby nie przeróżne drobiazgowe przeszkody, jak brak podróżnego kuferka, żal za Anulką, jej umieszczenie na przyszłość, jakiś niewytłomaczony lęk przed daleką drogą, wreszcie nieoswojenie się ze szczegółami planu, na który w ogólnych zarysach już oddawna się był zgodził.

Gdy więc przez kilka dni następnych pani Borajska udawała przy obiedzie i kolacyi, że go nie widzi, a zwracając się kiedy niekiedy do niego z zapytaniami, była poważną, zimną i nader grzeczną, gdy nadto oświadczyny miłosne już się nie powtórzyły — Smolarz pozostał jeszcze pod dachem Borajskich, nie zdając sobie dokładnie sprawy, dla czego się z miejsca nie rusza.

Tymczasem dzień toczył się za dniem, robota w warsztacie paliła mu się w rękach, Łasiecki od wiedzał go, zabawiał, no i tak zbiegło parę tygodni.

Wśród tego nie przestawał jednak przemyśliwać nad wyjazdem. Kupił już kuferek podróżny, dowiedział się, ile mil z Kołczanowa do Pragi, jak się długo tam jedzie, którym pociągiem, ile kosztuje bilet kolejowy itd. Praga podobała mu się oczywiście z tego względu, że tam ludzie, aczkolwiek w swej mowie parskają niby koty, mówią przecież takim językiem, że go można pojąć. Z tym naprzykład harfiarzem, co chodzi po Kołczanowie i jest rodem z Pilzna, (gdzie wyrabiają sławne na cały świat piwo) mówił kilka razy i rozumiał go doskonale. Tak też zapewne będzie i z innymi Czechami.

Po tem wszystkiem dopiero oswoił się naprawdę z myślą wędrówki po świecie, która z pierwotnej, nieuchwytnej jakiejś mrzonki, przeobraziła się ostatnimi dniami w plan dokładny, obmyślany szczegółowo.

I teraz to właśnie począł go Łasiecki męczyć namowami, aby się oświadczył Borajskiemu o rękę panny Loli.

W sam czas się wybrał.

— Panna Lola jest bardzo piękna i delikatna niby gładka jaskółeczka, to prawda — myślał Smolarz na osobności — i dobra, choć z macochą żyje w niezgodzie, ale... no cóż?! trudno. Onaby mię zresztą i tak nigdy nie zechciała, więc lepiej pójść sobie precz, a o niej nigdy nie myśleć.

IV.

Długą, pogodną jesień przerwała nagła śnieżyca, która nadciągnęła z gór w ostatnią niedzielę przed Bożem Narodzeniem, i spadła na Kołczanów.

Gdy się tak człowiek przez wiosnę, lato i jesień napatrzy do syta na zielone lub żółte kasztany w ogrodzie i błoto lub kurz na ulicach, to przecież weselej mu się robi na sercu, skoro ujrzy pulchną, dziewiczą białość na dworze, grubą na stopę, a zdrową, że tylko się w niej wytarzać i oczyścić z brudu...

A przy tem Boże Narodzenie, klejenie szopki z papieru, choinka, wigilia z kutią, początek zapust, wieczorki w „Gwieździe“, tańce u Szelągów, Ranieckich, Borajskich, Dyniewskich, teatra amatorskie... mój Boże! O wielu smutnych rzeczach w takich się chwilach zapomina.

Podgórskie miasteczko Kołczanów przedstawia się oczom zabłąkanego orła co nad

Dochody artystów
i ceny dzieł sztuki.

(Dokończenie.)

Suma ta nie będzie się wydawała przesadzoną, gdy weźmiemy pod uwagę, że artysta pracował nad tem płótnem (które go samo z farbami kosztowało około 4—5 tysięcy fr.) przez 3 łata, używając jednocześnie bardzo często, po pięć lub sześć modeli naraz.

Do tych szalonych kosztów, jakich artysta nie może uniknąć, pod grozą wykonania dzieła, które go nie zadowoli i w którem będzie się wiele braków dopatrywał, do tych kosztów trzeba jeszcze dodać wiele innych, nie dających się łatwo obliczyć, jak koszta pracowni, transportu na wystawę itd. Sama rama do tak wielkiego obrazu wynosi znaczną bardzo sumę. Obraz taki z ramą przedstawia znaczny ciężar, który wymaga literalnie rusztowań ciesielskich. Gdy to wszystko obliczymy, koszta 50 tysięcy franków za obraz już ostatecznie ustawiony na wystawie nie wydadzą się przesadnemi.

W ten sposób Rochegrosse, młody, a już bardzo sławny malarz, wydał 35 tys. fr. na malowanie „la Mort de Babylone“ (Upadek Babilonu). Bezstronnie mówiąc, trzeba przyznać, że Rochegrosse był o tyle szczęśliwym, że mu się jakaś część tych kosztów wróciła. Mianowicie za prawo robienia reprodukcyi fotograficznych z jego obrazu, zapłacono mu *aż* 250 franków i coś tam centymów!...

Rochegrosse, zabierając się do malowania tego obrazu, odbył umyślną podróż nad brzegi Eufratu, aby zbierać potrzebne mu materyały i studya. Pracownia Rochegrosse'a znaną jest jako prawdziwe muzeum starożytności. Niektóre przedmioty są autentyczne, wiele zaś między niemi podług dokumentów są przez samego artystę sporządzone.

Aby przekonać, że nietylko wielkich rozmiarów obrazy są dla artystów kosztowne, może służyć za przykład słynny Meissonier, którego obrazy znane są ze swych miniaturowych rozmiarów. Meissonier olbrzymie sumy wydawał na różne akcesorya i drobiazgi, które uważał za niezbędne posiadać aby je umieścić w swych obrazach.

Raz nawet, podczas malowania swej słynnej akwareli p. t. „Rok 1807“, kupił pod Poissy całe pole, po którem kazał manewrować oddziałom kawaleryi. Meissonier modelom swym płacił bardzo drogo, ale za to wymagał bezwzględnej nieruchomości jak od manekinów.

Trzeba przyznać, że Meissonier, choć miał szalone wydatki jednak był w tem szczęśliwem położeniu, że również drogo mógł sprzedawać swe prace, co nie o wszystkich artystach, jak widzimy, da się powiedzieć.

Przejdźmy naprzykład do artystów rzeźbiarzy, którzy jeszcze większe ofiary ponosić muszą niż malarze.

Jeden ze znanych rzeźbiarzy, Carrier-Belleuse, zapytany przez pewną damę, w jaki sposób podług biustu gipsowego można otrzymać zupełnie dokładną jego reprodukcyę w marmurze, odpowiedział: „Mój Boże, wszak to takie proste! Potrzeba tylko z bryły marmuru usunąć to, co jest nadto i biust jest gotowy“.

Dużoby niespodzianek czekało tę damę, gdyby jej opowiedzieć, wiele to przemian musi ten biust przechodzić: jak zrobiony w glinie, zamienia się na gipsowy, a ten znów na marmurowy.

Koszta, jakie ponosi rzeźbiarz, trudne są do ujęcia w jakieś stałe prawidła. Potrzebuje on pomocy wielu rzemieślników, których opłacenie musi iść w parze z trudnościami roboty, a ta znów zależy od sposobu wykonania danej pracy, a nawet od rodzaju pozy samej rzeźby.

Z rzeźby wykonanej przez artystę w wilgotnej glinie, odpowiedni specyaliści zdejmują formę, z której robią odlew gipsowy. Jeśli forma ta jest sporządzona tak, że można z niej otrzymać więcej niż jeden odlew, co często jest artyście potrzebne, to wówczas jest daleko kosztowniejsza. Odlew gipsowy, poprawiony przez artystę, może być reprodukowany w marmurze lub bronzie. Koszt tej pracy również bywa najrozmaitszy, zależnie od trudności roboty i od tego, czy odlew będzie robiony w piasku lub też w wosku. Postarajmy się jednak odnaleźć kilka szczegółów ilustrujących te koszta, a tyczących się artystów znanych.

Tak naprzykład Bucher sprzedał miastu Paryżowi za 15,000 fr. wielką figurę w marmurze p. t. „A la terre“, tymczasem główne koszta przewyższyły tę sumę. I tak: licząc po 10 fr. dziennie modelowi, mniej więcej w ciągu roku (całkowite bowiem wykończenie pochłonęło około trzech lat pracy), koszt modela wyniósł około 3,600 fr. Odlew gipsowy z formą pozwalającą otrzymać więcej niż jeden egzemplarz, kosztował 1,200 fr. Cena bloku marmuru białego (blanc clair) wyniosła 2.000 fr., ale z powodu wypadku w trakcie wykonania, trzeba było sprowadzić drugi blok, co koszt podwoiło. Opunktowanie w marmurze kosztowało 4,500 fr. i tyleż obrobienie, co razem wszystko utworzyło około 15,800 franków kosztów, całkiem nie licząc różnych innych wydatków dodatkowych, transportu, kosztów pracowni, a nadewszystko za czas i pracę samego artysty.

W Salonie, w r. 1892, tegoż samego artysty, była wystawiona rzeźba „le Répos“, której nabycie komisya rządowa zapewniła sobie, jeszcze przed otwarciem wystawy. Zobaczmy, o ile korzystny interes zrobił na tem Boucher.

Za rok mniej więcej pozowania modela po 10 fr. dziennie — 3,600 fr. Blok marmuru posągowego, który jest droższy od „blanc clair“, — 2.400 fr. Za opunktowanie i obrobienie 3,600 fr. Obliczając na 1,500 fr. koszt odlewu, transportu i pracowni, otrzymamy z górą 11.000 fr., gdy cena, jaką Boucher otrzymał, wynosiła 12,000 fr. Oddał zatem swą rzeźbę prawie za cenę poniesionych kosztów, nie licząc wydatków na własne utrzymanie podczas pracy.

Inny z francuzkich rzeźbiarzy również się nie zbogacił na jednym z najwspanialszych posągów zdobiących Paryż. Jest nim M. J. Dalon, twórca „Triomphe de la République“. Praca ta kosztowała nie mniej nad 110.000 fr., czyli że pochłonęła zupełnie i nawet przewyższyła kredyt, jaki mu miasto udzieliło. Aby dać przybliżone pojęcie o

---

niem przypadkiem przeciągnie, w kształcie wielkiego klucza wiolinowego, zaznaczonego budowlami na szarej ziemi. Środkiem miasteczka zakręca Rudy literę, stanowiącą oś klucza; wzdłuż niej biegną po stronach uliczki z małymi domkami po bokach, przy których widnieją sztachety, ogródki, furty, a gdzieniegdzie i wiejskie opłotki.

W środku wiolinowego klucza znajduje się centrum miasta.

Tu ujrzysz zacny turysto, gdy cię kiedy błędny ognik w te strony podstępem zawiedzie, że miasto Kołczanow nie jest lada jaką norą.

Rudy paraduje tu na przestrzeni pięciuset kroków w oprawie drewnianej, niby małomiejski gogo w sztywnym kołnierzyku, podziwiają go w tem przebraniu oprócz wielu kamienic prywatnych, gmachy szkoły gimnazyalnej, starostwa i hotelu „pod białym jeleniem“, którego podobizna przedstawiona jest siną farbą na szyldzie. Dalej nieco, w środku kwadratowego rynku, rozsiada się stary ratusz, pamiętający wiek ubiegły. Otoczyły go do koła kamienice jedno-piętrowe i kilka dwu-piętrowych, z których najpiękniejsza należy do aptekarza, a poznaną być może po wielkim, pozłacanym trójkącie i okiem w środku, od którego biją złote promienie. Mieści się w niej apteka pod Opatrznością. Tu ujrzysz dalej w tym sławetnym rynku latarnie i bruk kostkowy, którego założeniem wsławił się nieodżałowanej pamięci dziadek pani Marcysi Borajskiej — (niech mu za to święta ziemia lekką będzie) — tu wreszcie mieszczą się wszystkie sklepy pierwszorzędne, z wielkiemi szybami w oknach i wystawą za niemi.

O zajęczy skok od rynku jest inne miejsce, będące chlubą miasta Kołczanowa; zwie się ono „nowem Miastem“. Kościół tam rej wodzi: za nim idzie piwiarnia i garkuchnia Bronarza, a dalej budynek i ogród „Gwiazdy“, przytykającej do ogródka miejskiego. I tu wreszcie znajdują się nowe domy i kamienice najbogatszych Kołczanowian. Z tych domów wyróżnia się realność pana Kajetana Borajskiego.

Jak na całym Bożym świecie, tak i w mieście Kołczanowie podczas karnawału zwanego tu jeszcze mianem „zapust“, bawią się poczciwi ludziska ochoczo.

W radzie miejskiej ani jedno miejsce nie świeci pustką, u Bronarza tłok — „Gwiazda“ co wieczór jaskrawo oświetlona. Wróżnych domach tańczą, w „Gwieździe“ tańczą, cały Kołczanow, zapracowany we dnie, wieczorami drga, śmieje się, wiruje; najsławniejszemu z muzyków, panu Storchowi puchną palce i kieszenie od przygrywania Kołczanowianom do taktu na fortepianie.

Obywatele miasta znają się tu na wylot, rodziny są z sobą setnymi węzłami związane, prawie wszyscy są sobie krewnymi, kumami, a wszyscy bezwarunkowo sąsiadami i w sąsiedzkiej żyją zażyłości lub waśni. Nic ukryje się tu żadna tajemnica, żaden sekrecik, zwłaszcza ten, co się do spraw sercowych odnosi.

Plotki.... ba, o tych lepiej nie mówmy.

Trzynastego stycznia są imieniny pani Marcysi Borajskiej.

Oczywiście, że takiej uroczystości nie pominą zacni sąsiedzi milczeniem.

Będzie u państwa Borajskich zabawa z tańcami, bo jest w domu młoda kobietka i dwie hoże panny. U Szelągów jest „bal“ co roku około ośmnastego stycznia, z jakiej okazyi — niewiadomo. I tu młodzież tańczy zawsze na urząd, a starzy ogrywają się w ferbla i piją do upadłego. Ranieccy sprawiają w roku jeden wieczorek zapustny, Wywrotowie także, bo oczywiście dać się innym zawstydzić nie można. Nawet poważny mędrzec kołczanowski Imci pan Szołomiejski, urządza u siebie przyjęcie, w prawdzie bez tańców i muzyki, ale w każdym razie przyjęcie. Oprócz tego biega już Łasiecki po mieście i zbiera artystów do dwóch amatorskich przedstawień, które odbędą się z końcem stycznia i w pierwszych dniach lutego. Na pierwsze ma już sztukę wybraną i uzyskał zezwolenie od zarządu „Gwiazdy“ na urządzenie wieczoru.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



kosztach, powiemy, że sama glina kosztowała około 1,000 fr., a jest to tylko materyał chwilowo potrzebny, który musi ustąpić miejsca odlewowi gipsowemu, jak tegoż miejsce zastępuje następnie wosk, który znów z kolei znika, aby monument zjawił się w bronzie. Okucie i ustawienie tych grup wymagało skomplikowanej pracy cieśli i mechaników. Cztery boczne grupy, otaczające figurę główną, spoczywały na platformach, które dla ułatwienia w pracy musiały się posuwać na szynach.

Trzeba dodać, że wiele wydatków oddzielnie ciążyło na kasie miejskiej, mianowicie budowa specyalnej pracowni w okolicach Pola Marsowego itd.

Często potrzeby sztuki stawiają artystów w zabawnej lub kłopotliwej pozycyi. I tak: Albert Lefeuvre i Deslonchamps, pracując koło swych grup „les Abattoirs“, zmuszeni byli zostać przez pewien czas hodowcami bydła. Pierwszy wynajął na kilka miesięcy krowę z cielęciem i w przybudówce swej pracowni urządził oborę. Drugi zmuszony był kupić wołu, którego karmił, lecz... co prawda nic mu już za to nie płacił za pozowania i następnie ze stratą jakiemuś rzeźnikowi sprzedał.

Wracając do głównej treści artykułu, można wypowiedzić twierdzenie, że jeśli czasem artyści dochodzą do pewnego dostatku, to z pewnością nie zdobywają go sobie sprzedażą dzieł wielkich i pomnikowych, w które najwięcej swej pracy i talentu włożyli.

Oto jest obrazek stosunków panujących w jednym z najbogatszych narodów, gdzie oprócz pieniędzy miejscowych, płyną sumy od zjeżdżających się bogatych cudzoziemców. Jakie więc są te stosunki u nas, w kraju biednym, łatwo sobie wystawić i łatwo zrozumieć, dla czego tak trudno artystom oderwać się od tuzinkowej pracy, a zabrać do większej, sumiennie i gruntownie opracowanej kompozycyi. Dzieła takie są wielkiemi ofiarami, jakie artyści dla miłości sztuki na jej ołtarzu składają, mając pewność strat materyalnych, a wątpliwość co do zdobycia uznania i sławy. Większość nawet, mimo najszczerszych chęci, ofiar takich nie jest w stanie składać, bo do nich trzeba mieć kapitał w kieszeni, a wiadomo, jak rzadkim jest on między artystami ptakiem!

Antoni Austen.
art.-mal.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Sylwetki szląkzie.

III.

Z Górnego Szlązka.

Jan Karol Maćkowski.

Z wielkiem zainteresowaniem czytam wszystko co piszecie o naszym Szląsku. Czytałem więc i sylwetki, lecz nie znalazłem w nich szczegółowej wzmianki o Janie Karolu Maćkowskim, dawniejszym i pierwszym redaktorze „Nowin Raciborskich“. Przeczytawszy zaś niedawno w „Dzienniku Poznańskim“ świetnie opracowane przez tegoż J. K. Maćkowskiego „Wspomnienia szląskie“ (które, jak się spodziewać należy, wyjdą w osobnej odbitce,) uważam za rzecz nietylko godziwą, ale ze względu na bezstronne uznanie, jakie temu niedawnemu jeszcze współpracownikowi na niwie szląskiej słusznie się należy, konieczną, choć kilka słów na dowód wdzięczności od zawsze wdzięcznych Szlązaków do „Przeglądu“ przesłać. —

„Wspomnienia szląskie“ J. K. Maćkowskiego podają nam szczegółową charakterystykę bojów z ostatnich lat, które się toczyły pomiędzy budzącym się i odradzającym duchem polskości i usiłującym gwałtem go przycisnąć i stłumić potężnym germanizmem. Maćkowski będąc sam autorem „Wspomnień szląskich“ nie mógł ze słusznych względów osobistych wspominać o tem, iż on właśnie, jako redaktor „Nowin“, w tej walce zajął przednie miejsce, i stał się jednym z najwybitniejszych bojowników i szermierzy narodowej sprawy na Szlązku.

Trzeba bowiem wiedzieć, że walkę tę dziś tak gorącą, ale równie sprawiedliwą, poprzedził w swoim czasie (1890 r.) artykuł p r o g r a m o w y „Nowin“, piórem Maćkowskiego skreślony, w którym wobec stronnictwa centrum wyrażono wszystkie te postulaty równouprawnienia, o które dziś walka się toczy. Trzeba było być stałym i regularnym czytelnikiem „Nowin“, aby się przekonać, jak stopniowo w myśl wytkniętego programu sprawa polska na Szlązku się rozwijała i z jakiemi przeciwnościami redakcya i jej młody, ale zupełnie świadomy swego zadania i utalentowany kierownik, mieli do walczenia.

Grom po gromie padał z niemieckich gazet centrowych, a procesa, kary i więzienia stały się niemal rzeczą już powszednią. Dość powiedzieć, że w przeciągu jednego kwartału musiał Maćkowski zapłacić, o ile mi wiadomo, 800 marek sądom, a w przeciągu nie więcej jak jednego roku skazano go, raz po razie, na 8 miesięcy więzienia.

(Temi ciężkiemi klęskami tłómaczyć zapewne wypada, co tu mimochodem nadmieniam, konieczność, która Maćkowskiego zmusiła do sprzedania ostatecznie „Nowin“; lubo fakt ten smutne zrobił wrażenie na zwolennikach i przyjaciołach „Nowin“ i Maćkowskiego. ta jednak pozostała otucha, że „Nowiny“ dostały się w ręce zacnego i wykształconego współredaktora „Katolika“ p. Jana Eckerta).

Groźniejsza jeszcze chwila nastała, gdy „Nowiny Raciborskie“ potocznie tylko wspomniały o germanizowaniu w zakładach (czy zakonach) tak zwanych „Służebniczek Maryi“. Gazety niemiecko-katolickie pochwyciły w lot sposobność i burzyły tak długo, aż spowodowały księży górnoszlązkich, przeważnie wrogo usposobionych wobec narodowych gazet polskich, do zbiorowego wystąpienia przeciw „Nowinom“. Tymczasem, choć dekanat za dekanatem oświadczenia swoje z ambon i w „Schles. Volkszeitung“ ogłaszał, lud nie dał się zbałamucić, lecz tem silniej stanął przy „Nowinach“, tak że zaraz w przyszłym kwartale przybyło „Nowinom“ 500 abonentów. Słusznie też scharakteryzowało pismo to w artykule „P o w a l c e“ sytuacyę następującemi słowy:

„Nie ma złego, coby na dobre nie wyszło. Złem było, że „Nowiny“ w swej troskliwości o prawa i dobro ludu górnoszląskiego powtórzyły ów zarzut przeciwko NP. Księciu Biskupowi. No, za to złe, to już chyba dosyć odpokutowały, boć szarpano je na wszystkie strony, jakkolwiek „Nowiny“ same dobrowolnie złe to naprawiły i Księcia Biskupa przeprosiły. Ale powtarzamy raz jeszcze: Niema tego złego, któreby na dobre nie wyszło. Tak i w tym wypadku poznaliśmy wszelkie tajne i ukryte myśli przeciwników naszych i wiemy dziś już, czego się od nich spodziewać możemy, a również, na k o g o t o w c i ę ż k i e j n a s z e j n i e d o l i l i c z y ć m o ż e m y.

Niema pewnie między czytelnikami „Nowin“ tak łatwowiernego, któryby uwierzył, że gazetom niemieckim rzeczywiście tylko o sławę Księcia Biskupa chodziło, bo na obronę tej sławy takiej wrzawy nie było potrzeba. W swej zawziętości fałszywi przyjaciele sami się zdradzili. C z e k a n o t a m w W r o c ł a w i u j u ż o d d a w n a n a s p o s o b n o ś ć, a b y „N o w i n y“ u b i ć. Dla czego? Otóż jedynie dla tego, że „Nowiny“ reprezentują, czyli uosobiają w sobie s a m o d z i e l n o ś ć l u d u s z l ą z k i e g o, ponieważ bronią ludu nietylko przeciw otwartym wrogom, ale także przeciw fałszywym przyjaciołom, ponieważ ostrzegają lud, aby miał się na baczności, i nie pozwolił się na pasku udanej słodyczy do większego jeszcze doprowadzić p o n i ż e n i a“.

Z takiego więc ognia wyszedłszy cało, tem śmielej mogły „Nowiny“ postępować naprzód, bo poczuły przywiązanie ludu, który dał świadectwo obywatelskiej świadomości i umiejętności odróżniania prawdy od fałszu.

Zbliżyły się wybory do parlamentu. „Nowiny“ postawiły pierwszego polskiego kandydata: nauczyciela pozasłużbowego Robotę z Prudnika, a choć kandydat ten przepadł, to przecież pracowitej przeszłości „Nowin“ i takim zdolnym mówcom wiecowym, jak Maćkowski i dr. Rostek w Raciborzu, miał do zawdzięczania poważną cyfrę 6000 głosów, podczas gdy przeciwnik, choć głosowali na niego wszyscy połączeni Niemcy bez różnicy wyznania i stronnictw, oraz nieoświeceni niestety Morawianie, zdołał pozyskać nie wiele więcej — jeżeli mnie pamięć nie zawodzi — jak 8000 głosów.

I w wyborach do sejmu postawiono polskich kandydatów, a ponieważ Niemcy-katolicy powtórnie sromotny kompromis z innemi stronnictwami zawarli, więc i tym razem o zwycięztwie Polaków nie mogło być mowy; ale i Niemcy-katolicy przegrali haniebnie, gdyż pomimo kompromisu zostali przez stronnictwo rządowców oszukani i pobici. Nie byłoby to się stało, gdyby nie byli lekceważyli potęgi ludu polskiego.

Echa tych walk narodowych w samym Raciborskiem na chwilę ucichły, lecz nie przebrzmiały bez śladu. Będą się one jeszcze długo odzywały, a sądzę, że tak długo, póki lud zupełnego równouprawnienia sobie nie wywalczy; będą się odzywały w tej zgodnej harmonii wszystkich trzech gazet naszych narodowych („Nowin“, „Katolika“ i „Gazety Opolskiej“), której Maćkowski tak szczerze pragnął, czego dowodem ostatnie dwie zwrotki z pieśni jego, ułożonej swego czasu na 25-letni jubileusz „Katolika“:

I.

Dwie siostrzyce, krasawice
Starszej siostrze pokłon dają,
A promienne młode lice
Blask swój starszej zawdzięczają.
Starszej cześć, starszej cześć
I uznanie trzeba nieść.

II.

Jak kochanek i kochanka
Niechaj żyją trzy siostrzyce
Z „Katolikiem“ „Opolanka“
I „Nowiny“ krasawice.
Wszystkim cześć, wszystkim cześć
I uznanie trzeba nieść.

I Tobie cześć i uznanie niesie Szląsk, zacny pracowniku na niwie narodowej. Choć zdala od nas pono przebywasz, przecież blizcy Ci zawsze sercem jesteśmy i wdzięczni i w miłej Cię na zawsze chować będziemy pamięci! Bóg z Tobą w dalszej tak wzniosłej pracy dla dobra i szczęścia narodu.

J. D.

Studentki w Szwajcaryi.

Kwestya kobieca, o której setki tomów zapisano, która tak ważny krok znamionuje w rocznikach ludzkiego postępu, a dla przyszłości tak doniosłe rokuje nadzieje, daleką jest jeszcze od ostatniego rozwiązania. Bądź co bądź jednak kwestya ta na całej linii wywołała bój pod hasłem „emancypacyi“, rozwija się i coraz szersze zdobywa sobie pole działalności, coraz liczniejszych zyskuje apostołów i wyznawców, coraz jaśniej stawia swój program na ruinach zapleśniałej wsteczności. Literatura tego kierunku nieprzebraną jest w argumentacye za i przeciw równouprawnieniu kobiet, ale właśnie to zainteresowanie się zawiłą kwestyą, te głosy obrony i potępienia, ta krytyka, to ścieranie się twierdzeń znamionują żywotność sprawy i podnoszą jej znaczenie. Dziwić się nowatorskim dążeniom kobiet nie można, bo są one wynikiem „prawa do życia“, a zatem prawa, które każdy nieuprzedzony uszanować musi. Skoro zaś dążenia takie wydać mogą owoce rzeczywistego pożytku i polepszyć byt społeczny kobiety, która nadto chce być czynną i produkcyjną jednostką w mechaniźmie społecznym, tamować ich rozwoju nikt nie powinien. Powiedział Szopenhauer, że „żyć znaczy chcieć, a chcieć znaczy cierpieć“, kobieta chcąc jednak żyć, nie ulękła się cierpień, odważnie stanęła do walki z życiem i zakasała rękawy do pracy, która jej zwiastowała własne zadowolenie i nęciła nadzieją zapewnienia niezależności. O ile takie dążenie, takie przeobrażenie utartych dróg postępowania licuje z słusznością, nie trudno o sąd, byle ferujący wyrok, już to jednostka, już to ogół, stanął na stanowisku objektywnem i zrzucił z siebie chociaż na chwilę maskę egoizmu. Duch czasu przynosi nam coraz twardsze warunki życia; ogólne przygnębienie kraju (mam tu polskie dzielnice na myśli) oddziałało i na kobietę, która widząc, że intelektualne i fizyczne jej siły w bezczynności idą na marne, a podminowana nadto idealnemi dążeniami ludzkości, zamieniła bierne wyczekiwanie.... kupca, który notabene w wielkiej loteryi świata zbyt często zawodził jej nadzieje, na aktualną czynność o ile ta nie przekraczała możności sprostania zadaniu. Coraz zacietsza walka o byt dodała kobiecie bodźca do pogłębienia swych wiadomości, do rozszerzenia horyzontu swych pojęć, ażeby, o ile to możebne, wyrównać szczęśliwszym pod tym względem mężczyznom. Emancypacya powołała kobiety do większego zainteresowania się własnym losem, podała im nowe sposoby zużycia duchowych swych kapitałów, obudziła w nich chęć, a co zatem idzie zamiar i postanowienie zdobycia sobie nowych dróg postępowania i sposobów do lepszego i zyskowniejszego ujawnienia swych zdolności, oraz możności współdziałania w dążeniach, pracach i trudach, których pomyślne rozwiązanie przypisywano tylko rodzajowi męzkiemu. Zakusy te i osiągnięty w licznych razach cel dążeń sprowadziły rodowi mężczyzn konkurencyę, usprawiedliwia ją jednak wspomniane już poprzednio prawo do życia, nadto w częstych przypadkach (n. p. w medycynie) właśnie ta istota kobiety i połączone z nią kwalifikacye, które w wielu razach pożyteczniej od męzkich dają się wyzyskać (choroby kobiece zwłaszcza na Wschodzie). Studentka w potocznem mniemaniu tworzy synonim emancypantki i poniekąd słusznie, bo o ile druga nie zawsze jest lub była studentką, o tyle ta jest wynikiem i pionierem emancypacyi kobiecej. Zadaleko zaprowadziłoby mnie segregować i badać wszystkie jej odcienia w różnych częściach świata, to też na dzisiaj postanowiłem podzielić się z Szan. Czyt. wiadomościami specyalnie o studentkach w Szwajcaryi. Ostatnie z natury rzeczy więcej nas interesują, ponieważ w wielkiej części rekrutują się z Polek, z tych Polek, których życie na uniwersytecie otoczone jest aureolą mistycyzmu z nimbem tajemniczej zagadkowości i *last not least* po większej części błędnych uprzedzeń. Nasamprzód nadmienić muszę, że kobieta, chcąca się oddać wyższym studyom fachowym, spostrzega zawsze, że wykształcenie jej ogólne nietylko chroma, ale wręcz nie wystarcza do podołania wymaganiom uniwersytetu. Wina to oczywiście nie kobiety, ale ustroju szkólnictwa, które w innych celach wychowuje ród ludzki *masculini*, a inaczej *feminini generis*. Podczas gdy np., w Ameryce, kierunek powszechnie przyjęty zmierza do zatarcia różnic pomiędzy chłopcem, a jego rówieśniczką, tak, aby kobieta w późniejszych latach sama sobie wystarczyć mogła bez oglądania się na pomoc mężczyzny, a nawet, żeby przygotowaną była z nim współzawodniczyć, u nas i wogóle w europejskich społeczeństwach dzieje się wręcz przeciwnie. Reakcya i zmiana w tym kierunku postępuje żółwim krokiem, bądź co bądź jednak została powziętą i pojedyńcze gimnazya żeńskie w wykładami łaciny, greki i wyższej matematyki zostały już otwarte, mimo, że dotychczas na palcach jednej ręki policzyć je można. Ameryka o wiele wyprzedziła Europę. Stany Zjednoczone posiadają 10 specyalnych uniwersytetów dla kobiet, Kanada 1, to też według najnowszej statystyki w Ameryce zawód lekarski uprawia 2000 kobiet, pomiędzy temi 95 wykłada medycynę, specyalnie chirurgii poświęca się 70, a samych okulistek jest 40. Upadek powziętego zamiaru otworzenia polskiego gimnazyum żeńskiego we Lwowie niedawno jeszcze temu narobił dużo hałasu w gazetach, równie jak przypuszczenie kobiet do studyi uniwersyteckich w Krakowie. Polki, chcąc słuchać wykładów na uniwersytecie, udają się przeważnie do Zurychu lub Genewy i przedwstępne studya swe zaczynają od prywatnego przygotowania się w danych materyach, lub zapisując się równocześnie jako „wolne słuchaczki“.

Statystyka wykazuje, że najwięcej Polek poświęca się medycynie, licznie także uczęszczają na wydział przyrodniczy, znacznie mniej na wydział literacki, a wyjątkowo tylko na wykłady nauk społecznych. Wydział prawniczy nie miał dotychczas, o ile mi wiadomo, żadnej Polki i, co z natury rzeczy wypływa, żadnej także wydział teologiczny, jak się to przeciwnie dzieje pomiędzy Amerykankami. Sekcya nauk filozoficznych bodaj także żadnej, chociaż wszystkie studentki uprawiają filozofię prywatnie, bez systemu, po amatorsku. Największej trudności przedstawia zwykle fizyka, z powodu potrzeby znajomości wyższej matematyki: wiele studentek, które zamierzają studyować medycynę, a które nie wiedzą, czy fundusze na długie studya wystarczą, kończą zwykle wpierw wydział przyrodniczy. Chociaż Polki liczebnie wśród studentek szwajcarskich poważne zajmują miejsce, to jednak znacznie wyprzedziły je Rosyanki i różnicę tę można liczyć na 50 proc.

Wracając raz jeszcze do wykształcenia Polek nie mogę pominąć, że wychowanie kobiet w naszem społeczeństwie, oprócz braków ścisłego przygotowania naukowego, stawia im zaporę do wolnego, samodzielnego życia studenckiego, chroniąc je za młodu od wyrobienia samodzielności w jakimkolwiek kierunku. Potrzeba dopiero całej sumy warunków, żeby Polka zdecydowała się urzeczywistnić swój zamiar i zostać „studentką“. Ale nauka i świeży powiew nowych prądów przedostają się dzisiaj wszędzie, rozwiewając stopniowo polskie uprzedzenia, krępujące kobietę, zwłaszcza studentkę, i zmieniają pojęcia ludzkie o świecie i przeznaczeniu człowieka. Inaczej było przed niewielu jeszcze laty. I jeżeli, pomijając nauki, na uwagę weźmiemy rzecz tak błahą i ogólnie małoznaczną jak n. p. ślizgawka, jakaż zmiana gustu, jaka metamorfoza zapatrywań jasno i dobitnie do nas przemawia o postępie czasu! Gdy dawniej za niesłychaną nieprzyzwoitość uchodziło, by panna z porządnego domu oddawała się takiej *shocking* rozrywce jak ślizgawka, która dobrą była dla wyrostków i to jeszcze niezbyt tęgiej używających reputacyi, dzisiaj nawet starsze matrony nie wahają się uczyć łyżwiarskiego kunsztu w chwalebnym zresztą zamiarze bezpośredniego dozorowania córeczek. Podobnie miała się rzecz i z studyami uniwersyteckiemi dla kobiet i dziś, oprócz nieufności w wytrwałość i przeprowadzenie zamiarów, coraz mniej ludzi za złe bierze pannie, jeżeli ta udaje się za granicę, ażeby tam u źródła czerpać wiedzę i następnie praktykować w zawodzie, który nie tak dawno jeszcze był monopolem mężczyzn.

Oczywiście nie bądźmy optymistami i nie sądźmy, że zwycięztwo nowych idei jest radykalne i powszechne.

Społeczeństwo nasze karmione od długich lat margaryną umysłową — jak swego czasu trafnie wyraził się Przegląd — i zamknąwszy oczy i uszy na nowe prądy, które ponad niem przeleciały, zasklepiło się samo w sobie, otoczyło się murem chińskim przeciw postępowym dążeniom i zatraciło pogląd na nowe zdobycze wiedzy i prądów społecznych.

Ztąd to pochodzi, że publiczność, nie pojmując jeszcze różnic głębokich, lecz pokrytych pozornem podobieństwem, tak często miesza pojęcia polityczne, społeczne, religijne i nie pojmując doniosłości nowych idei i ideałów, jak w niniejszym przypadku, wyblakłą postać zgasłej już prawie za dni naszych „basbleu“, lub poczwarkę sawantki o podstrzyżonych włosach i niebieskich okularach miesza z studentkami, robiąc z swego widzimisię ogólny galimatias pojęć, prawdziwy bigos zapatrywań, podlewany sosem zwietrzałych i przestarzałych aforyzmów. Kto sam żył czas niejakiś na jednym z uniwersytetów szwajcarskich i bliżej poznał studentki, tego niepomiernie zadziwi, ale i uśmieszy, skoro usłyszy w kraju opowiadania, jakie o nich krążą przy familijnych herbatkach, a które graniczą z baśniami 1001 nocy. Społeczeństwo nasze przyzwyczajone chodzić utartemi drogami, wierząc święcie w przykazanie „ładu i porządku“ i zapatrując się na wszystko i wszystkich według wskazówek tych, którzy mają pretensyę dyrygowania koncertem opinii, mimo, że niezupełnie gustuje w tej kakofonii tonów, pozostaje biernem, bo odzwyczaiło się od krytyki i ścisłych badań. Ztąd u nas w Wielkopolsce pod wielu względami zacofanie i stagnacya umysłowa, ztąd ten konserwatyzm, tamujący każdy świeży powiew myśli, dlatego Wielkopolanek dotychczas próżno szukać pomiędzy studentkami. Mierząc ludzi nie miarą Fidiasza, ale łokciem krawca, trudno publiczności naszej usprawiedliwić swobodne życie studentek, ich obcowanie z studentami, wspólne studya, wspólne wycieczki, wspólne rozrywki, nie krępowane gorsetem konwencyonalizmu. Jeżeli jednak mimo tego wszystkiego, mimo że oddaleni jesteśmy od szerokiego gościńca, po którym kroczy pochód cywilizacyi współczesnej, wchłonęliśmy w siebie nieco atmosfery otaczającej, przyswoili sobie niektóre dążenia, zastosowali

ten lub ów nowy kierunek, jeżeli przebłyski podjęte na Zachodzie w radykalniejszych sferach umysłowości kobiecej znajdują i u nas refleks, to zawsze zaliczyć je można, przynajmniej tymczasowo, — do wyjątków.

W Szwajcaryi pod tym względem inaczej stoi sprawa. Tam nikt ani się dziwi ani podejrzywa, jeżeli np. w mieszkaniu studentki gromadzą się studenci i koleżanki, ażeby wspólnie opracować pensum, ażeby myśl jaką zawiłą wspólnie przedyskutować i wyświecić. Tam nie dziwi nikogo, jeżeli do samotnego mieszkania studentki wchodzi student, ażeby odwiedzić koleżankę, nie dziwi ani gorszy nikogo, jeżeli nawet późno w noc, wracając z jakiego zgromadzenia, koledzy studentkę odprowadzają do domu. Trzeba być świadkiem tego życia cygańskiego może nieco, ale bynajmniej nie rozpustnego, trzeba widzieć jak zimą wieczorem grono studentek i studentów w mieszkaniu tej lub owej koleżanki „preparuje“ sobie herbatę, lub „denerwuje“ się filiżanką kawy „czarną jak noc, gorącą jak piekło“, chociaż z częstego braku cukru, nie zawsze „słodką jak miłość“, trzeba przypatrzyć się z blizka jak ci wychowańcy i wychowanki akademii otoczeni kłębami dymu późno nieraz w noc gwarzą i debatują, bez pobocznych zamiarów i tylko w celu towarzyskiej pogadanki i wzajemnej wymiany myśli; wtenczas znika różnica płci i wszyscy są tylko kolegami, tak samo jak w urzędowej gwarze uniwersyteckiej nie ma studentek i studentów, tylko „studyujący“. Czyż w takich stosunkach studentka, dla której ideałem szczęścia jest wiedza, lepszego nie sprawia wrażenie, niż przeciętna nasza panienka, dla której często definicyą szczęścia jest jabłecznik z bitą śmietaną! W Zurychu, Genewie i Bernie kobieta równie jest „akademickim obywatelem“, jak mężczyzna. Profesorom przybyłym zwłaszcza z Niemiec sprawia to nieraz pewien ambaras, i humor studencki dzieli ich na takich, którzy przemowy swe zaczynają od nagłówka: „Szan. Zgromadzeni“, albo „Moje Panie i Panowie“, lub wreszcie odwrotnie. Są to drobne formalności drażliwe początkowo nieco dla profesorów Niemców, zwłaszcza nowicyuszów. Niemców też zwykle i pomiędzy studentami dość dużo, zwłaszcza w letnim semestrze, a to z powodu, że przybysze korzystają z sposobności uroczych wycieczek i poznania wolnej ziemi Tella. Kursa, jak to już nadmieniłem, są wspólne dla obu płci i te same; gdy pewien profesor zaprowadził raz pod tym względem zmianę, ogłosiwszy specyalne wykłady dla kobiet, stawiły się na nie 2 tylko słuchaczki, tak że do dawnego zwyczaju powrócić musiał. Według naszego domowego wyobrażenia spodziewać by się można, że wykłady medycyny a zwłaszcza fizyologii, żenujące być muszą dla kobiet i dają powody do licznych zwrotów, które rumieniec wstydu na twarz kobiecą wywołują. Nic z tego. Przeciwnie, właśnie na wykładach medycyny, panuje rzeczowa powaga, a profesorzy bez uszczerbku dla nauki pozbyli się wobec kobiet dwuznacznych uwag i dowcipów, któremi na niemieckich uniwersytetach tak często kraszą suche wykłady. Na wykładach znika różnica płci, są tylko słuchacze i nikomu na myśl nie przychodzi, żeby studentka ambarasować się miała przedmiotem wykładu, lub męzkiem otoczeniem. *Naturalia non sunt turpia* służy tu wszystkiem za dewizę, a objekt wykładu w prosektoryum uważany jest jedynie za konieczną materyę wykładu. Gdy razu pewnego młode dziewczę opuściło w Zurychu podczas wykładu salę, pożegnano je gwizdaniem i tupaniem, mimo że biedaczka, jak się to następnie wykazało, nie ze wstydu opuściła prosektoryum, ale poprostu dla tego, że nieprzyzwyczajonej do widoku pokrajanego trupa źle się zrobiło. Myliłby się także, ktoby myślał, że studentki i powierzchownie wyróżniają się z grona kobiet. Zdarza się wprawdzie czasem u nich kapelusz jakiś zawadyacki, lub swobodniejsze ruchy, ale wyjątki nigdy nie stanowią reguły. Kobieta i tu pozostaje kobietą, nie pozbawioną nawet kokieteryi i przyrodzonego jej wdzięku, o ile jej na uwydatnienie ostatniego pozwala kasa. Niejedna z naszych matron zadziwiłaby się ich zaparciem siebie, ich wytrwałością i pracą, która swawolnym myślom nie daje przystępu. Gdyby nasi gimnazyaści tak jak nieraz studentki „kuli“ łacinę i matematykę, niejeden z mniejszym wąsem opuszczałby gimnazyum. Kto wśród większej liczby studentek poznał takie, które, byle się uczyć, byle dopiąć celu, 50 frankami miesięcznie opędzają domowe wydatki i w cienkich, wyszarzanych spódniczkach punktualnie biegną na wykłady, żeby się nie spóźnić, nic nie opuścić, nic nie stracić, ten czoło pochylić musi przed poważnem ich traktowaniem rzeczy. Dziwnem jest, że właśnie Rosyanki jako studentki najgorszej używają reputacyi, chociaż właśnie one należą do tych najbardziej wydziedziczonych, którym Bóg zwyczajnie nie pobłogosławił na urodzie, a najczęściej i na kieszeni. One jak i Rosyanie studenci nie mają nic w sobie z tych wrogich instynktów dla Polaków, które cechują rasowego moskala. Przybywając do Szwajcaryi na studya mają prawie zawsze po za sobą historyę, skwitowali z maksymami carstwa i w najliczniejszych razach przybywają do Zurychu, ponieważ ich zapatrywania społeczne i polityczne nie zgadzają się z zamiarami rządu rosyjskiego.

Rosyanki i Rosyanie studyujący w Szwajcaryi należą zwykle do ludzi, którzy życie i ludzi szerszem obejmują okiem i jako przeciwnicy systemu rządowego, a podminowani reformami i dążeniami Zachodu, znaleźli się w konflikcie z życzeniami rządu. Opuszczając Rosyą rezygnują bardzo często z powrotu do swej ojczyzny. Rosya dobrze o tem jest poinformowaną i rozsyła szpiegów, którzy za ruble pilnie nadstawiają ucha i o wszystkiem donoszą do Petersburga. Ztąd też pochodzi, że Polacy, nauczeni smutnem doświadczeniem, a nie wiedząc w kim wroga, a w kim przyjaciela upatrywać, trzymają się na uboczu i trzeba być świadkiem naocznym, żeby wyobrazić sobie sytuacyę, gdy w gronie zebranych ktoś szeptem wskaże domniemanego szpiega. Wtenczas milknie każda żywsza nuta, każde swobodniejsze słowo i pogawędka przybiera temat ogólny, nic nie znaczący. Że Rosya słusznie przewiduje w studentkach wrogów swego systemu, o tem najlepiej przekonać się można na wykładach historyi i nauk społecznych. Rzuciwszy okiem po sali nietrudno z postawy, wyrazu twarzy i zachowania się przekonać, że ci którzy z zachmurzonem czołem, gniewnem okiem i zaciśniętemi ustami słuchają o przewrotach społecznych, należą do owych reformatorów, którzy zmurszały świat z posad chcieliby ruszyć i na jego ruinach głosić ewangelię swobody i równości. Te oczy marzycielskie, te profile fanatyków, te rysy męczenników, włosy rozwiane lub spadające na ramiona, ile tam typów dla malarza, ile tematów dla myśliciela! Nie przeczę, że nie tylko wśród studentów — Rosyan, ale i wśród studentek — Rosyanek, znaczna tu liczba wyznawców socyalizmu, nihilizmu, a czasem nawet anarchii, ale właśnie to wyznawanie ideałów nie harmonizujących z duchem rządu, ten opór przeciwstawiony przemocy, dają Polakom pewną gwarancyę, że w kolegach z Rosyi nie znajdą wrogów ojczyzny. Iluż z nich z patentem lub doktoratem w kieszeni nie cierpi następnie w Petropawłowskiej twierdzy, lub kończy na Sybirze! Szpiedzy rosyjscy naturalnie nietylko wśród własnych braci, ale i wśród Polaków czyhają na ofiary, lecz pojęcie koleżeństwa jest tu tak wyrobione, że studenci bywają zawczasu uprzedzani, przed kim się strzedz należy. Gdy na pewnej rocznicy listopadowej w Zurychu wygłosiłem patryotyczną mowę, zbliżył się do mnie nieznany mężczyzna w ciemnych okularach i w mniemaniu, że jestem poddanym rosyjskim, przedstawiwszy się jako korespondent do jakiegoś czasopisma galicyjskiego, prosił o brulion mej mowy. Hurmem zbiegli się do mnie koledzy i nawiązując rozmowę na inny temat, szczypiąc mnie pokryjomu, szarpiąc z tyłu i dając znaki poza plecami szpiega, uprzedzili mnie z kim mam „przyjemność“. Ta sama solidarność panuje i pośród studentek, które oczywiście na równe nieprzyjemności są narażone. A jednak z jakiem poświęceniem z jakiem zaparciem siebie niosą sztandar swego wyznania politycznego, z jaką dumą i cywilną odwagą bronią swych przekonań społecznych. Bynajmniej nie pojedyńczo zdarza się, że studentki — mówię tu o Rosyankach — przemawiają na zgromadzeniach, prawda, że najczęściej socyalistycznych. Wystąpienia takie publiczne, przecinają drogę powrotu do Rosyi, a jednak z przyjemności, z wygód, z zadowolenia składają ofiarę na ołtarzu złych czy dobrych, lecz szczerze umiłowanych ideałów społecznych.

W ciągłem obcowaniu w towarzystwie męzkiem zatracają studentki wprawdzie niekiedy dużo delikatności kobiecej, nabierają ruchów i gestów nieco męzkich, lekceważąc wybryki mody zaniedbują się czasem w stroju, a od ciągłego palenia papierosów głos ich przybiera nizkie, męzkie tony, ale odnosi się to, i nie jako reguła, do socyalistek i nihilistek. Wśród studentek Polek dążenia podobne stanowią wyjątek w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu. Być może — że prąd ten i pośród ostatnich istnieje, jeżeli tak jednak jest, to z pewnością wązkiem płynie korytem na uboczu, nieledwie poza społecznością studencką, a na pewno poza tem, co jej część rdzenną stanowi.

Wśród studentek Polek, których cały tryb wychowania znamionuje przewodnią myśl wyrobienia w nich odrębności kobiecych, życie na uniwersytecie rozwija zdolności wrodzone, ułatwia nabycie wiedzy, hartu ducha i ciała, a wszystko to dla uformowania charakteru o ile można najbardziej licującego z ich przyszłem powołaniem; do naśladowania Rosyanek jednak nie przyjdzie chyba tak rychło. I o ile Rosyanki w czynnym rewolucyoniźmie nie ustępują mężczyznom i należą do związku nihilistycznego, albo do lewicy najskrajniejszej, z anarchizmem graniczącej, o tyle Polki stronią od podobnych związków nielicujących z ich charakterem narodowym i oddają się — tylko nauce. Myliłby się także, ktoby sądził, że studentki należą do owych skarykaturowanych istot, cierpiących wiecznie na anemię i wycieńczenie, a przyznać wszystkim nieomal trzeba, że odznaczają się notoryczną pilnością i prawdziwem pojęciem obowiązków. Oprócz nauki, studentki nasze są także dostępne i dla zabawy, co zresztą leży w istocie ich wieku. Na balach studenckich najlepiej można obserwować, że nie utraciły nic z wdzięku i powabu kobiecego.

Wpływ studentek na kolegów jest bardzo dodatni, i zdziczeni nieraz dawnem życiem studenci, przez towarzystwo koleżanek odzyskują dawną równowagę moralną i giętkość w obcowaniu z kobietą wykształconą, znającą swą godność kobiecą. Uniwersytety szwajcarskie to wielkie zakłady wychowawcze, które obok rozumu kształcą serce i duszę. Oprócz wspólnych wykładów i zajęć w laboratoryum odbywają się od czasu do czasu także wspólne wycieczki, na których gawędzi się nad kwestyami zawodu, zazna-

jamia się nawzajem z otoczeniem, z naturą i nowemi zdobyczami wiedzy. Na takich wycieczkach niejedna dobra myśl, błąkająca się samopas, znajduje urzeczywistnienie, a pomijając ich wewnętrzną korzyść, nie są one również bezpożyteczne na zewnątrz, gdyż zostając pod kontrolą jednego z profesorów, budzą interes ogółu. Jest to godziwy i szlachetny środek reklamy wobec tych, którzy zyzem spoglądają na istotę studentek.

Nakoniec muszę jeszcze nadmienić, że wstęp do uniwersytetu nie przedstawia dla kobiet żadnych trudności i *wolną słuchaczką* może zostać każda ukończywszy lat 18, od studentek rzeczywistych zaś wymagany jest patent nauk gimnazyalnych, udzielany przez miejscowe „collège“. Cudzoziemki o prawa rzeczywistych studentek rzadko się starają.

Ukończenie studyi jednego z uniwersytetów szwajcarskich nie jest jednak tak łatwem, jak ogół nasz nieraz z lekceważeniem sądzi, tłomacząc sobie mylnie, że byle pobyć kilka lat w Zurychu lub Bernie, wystarcza do otrzymania bakalaureatu lub doktoratu bez ścisłych egzaminów. *Doctor romanus, asinus germanus* nieraz łączone tu bywa znakiem równania, gdy tymczasem statuty oprócz dysertacyi i ustnego egzaminu, przepisują także piśmienną pracę klauzurową. Zważywszy nadto, że wśród egzaminujących profesorów znajdzie się zawsze taki, który niechętnem okiem spogląda na studentki, trudności szczęśliwego rezultatu nie zawsze są łatwe do przebycia. Nauka medycyny wymaga zwykle 6 lat studyi, nauki społeczne i przyrodzone 3 lata mniej więcej. Wpisy, wykłady, klinika, laboratoryum i egzamina równie drogo kosztują jak w Niemczech lub Austryi, a bakalaureat, licencyat lub doktorat 50 do 200 frankami trzeba opłacać.

W Genewie egzystuje „tow. międzynarodowe studentek“, które pragnącym informacyi udziela bezinteresownie potrzebnych wiadomości. Czy i w Zurychu podobne towarzystwo istnieje, nie wiadomo mi. Powodzenie kobiet w studyach uniwersyteckich zależy od wielu warunków, z których jeden leży w właściwościach naturalnych kobiet, drugi w ich wychowaniu, inny w przygotowaniu naukowem, a wreszcie i w uniwersytetach samych. Ponieważ jednak poza uprzywilejowanem ogniskiem rodzinnem istnieją całe tłumy wydziedziczonych, które w życiu dotychczasowego trybu przegrały całą wstawkę pomyślności, które mnożą się w sposób zatrważający, a dla których pomoc i ułatwienie trudnej drogi stanowi święty obowiązek zarówno prawodawstwa jak i dobrze zrozumianej filantropii, zastosowanej do potrzeb obecnej chwili, przeto należy przed niemi otworzyć na rozcież podwoje, do których wstęp był przedtem wyłącznym atrybutem męzkiej połowy rodu ludzkiego. Bezwzględne sądy i niepotrzebny pesymizm nie wstrzymają napływu kobiet do uniwersytetów. Prawda, że pośród byłych studentek znajduje się grono wykolejonych, do których zaliczyć trzeba te, które bez odpowiednich zasobów wytrwałości i wiedzy wycieczkę na uniwersytet zakończyły rozczarowaniem i zniechęceniem, które się zawiodły w swych oczekiwaniach, które w nierozważnie obranej karyerze ustały w połowie drogi, które zdobywszy wiedzę, straciły siły, słowem wszystkie zwyciężone w walce z życiem, a nie mogące bez buntu wewnętrznego przyjąć doli, jaka im przypadła, ale dla tych wyjątków nie można obarczać kondemnatą ogółu i przez pryzmat osobistych niepowodzeń zapatrywać się na potrzeby całego społeczeństwa.

I gdyby nawet nie rzeczywisty pożytek, jaki społeczeństwu oddać mogą kobiety, przeszedszy studya uniwersyteckie, ale tylko ambicya, ta choroba umysłów szlachetnych, jak ją nazywa Lubbock, była ostrogą ich dążeń, już byśmy przed ich zamiarem uchylić musieli czoła. Przegrana bywa nieraz zaszczytniejszą od zwycięztwa, a poniża tylko wtedy, gdy jest skutkiem upadku ducha.

Witołd Leitgeber.

Z estrady i sceny.

(Dzień w redakcyi. Komedya w 1 akcie Z. Przybylskiego. — Pokój do wynajęcia. Komedya w 1 akcie p. Popławskiego i Golańskiego. — Zbójcy.)

W powodzi jednoaktowych utworów, osłaniających na przestrzeni ostatnich tygodni pustki repertuarowe w teatrze naszym, dwa tylko zaliczyć można do rubryki „nowości“: „Dzień w redakcyi“, Przybylskiego, i „Pokój do wynajęcia“, Popławskiego i Golańskiego. Pierwsza z wyżej wymienionych komedyi zajmuje niewątpliwie poczesne miejsce w szeregu drobniejszych fars i obrazków, któremi Przybylski scenę polską obdarzył; czerpał on tu wzory swoje z oficyn dziennikarskich Warszawy i dla tego redakcya jego ma tchnienie wielkomiejskiej atmosfery, ma ruch, gwar, typy i barwy takie, których miniaturowe zaledwie odbicie znaleźć można w naszych parafiańskich warsztatach prasowych. To też na publiczności poznańskiej wywierała komedyjka Przybylskiego nieco egzotyczne wrażenie, — lokalne aluzye i fotografje nie eksplodowały tutaj brawami i śmiechem, — lecz, mimo tej porcyi humoru, zatraconej gdzieś po drodze między Warszawą a Poznaniem, „Dzień w redakcyi“ posiada nieprzepartą *vis comica*, zapewniającą utworowi temu trwałe powodzenie na scenie. Oczywiście, jak w innych większych i mniejszych sztukach Przybylskiego, tak i tu w typach i sytuacyach znać gdzieniegdzie pędzel karykaturzysty, — ale, gdy w intencyach autora nie leżało bynajmniej tworzyć komedyi na Lessingowską modłę, lecz tylko garść śmiechu rzucić na deski, więc krotochwilowy zakrój utworu jest prawie niezbędnym — mianowicie w jednoaktowych ramach, — warunkiem powodzenia. Z artystów występujących zasługują na wyszczególnienie pp. Wojdałowicz i Berski w roli dwóch powaśnionych z sobą reporterów. Szkoda istotnie, że w karyerze scenicznej pierwszego z wymienionych aktorów nieszczęśliwe warunki zewnętrzne stały się przykrą zaporą, bo jest tam wielki zasób talentu charakterystycznego, jest znaczny materyał naturalnego humoru, ujętego sumienną pracą w formy artystyczne.

Drugą jednoaktową premierą sceny naszej jest „Pokój do wynajęcia“ Popławskiego i Golańskiego. Literacka ta spółka prezentuje się — jeżeli mnie pamięć nie zawodzi — po raz pierwszy publiczności poznańskiej, p. Popławski jednak znany jest u nas jako utalentowany aktor a równocześnie autor kilku przeróbek powieściowych wątpliwej wartości. Najświeższa komedya jego, stworzona w spółce z p. Golańskim, posiada bez kwestyi zalety sceniczne. Sytuacye dowcipne, zawikłanie zręczne, niektóre typy dobrze uchwycone, dyalog tylko nieco pospolity doprasza się o pewne amputacye i nieco błyskotek humoru. Gra artystów, a mianowicie p. Królikowskiej, odznaczała się gdzieniegdzie usterkami pamięciowej natury, wogóle jednak była prawidłową i wyrazistą. Wytworna elegancya i ruchliwość pani Jakubowskiej i pana Knapczyńskiego oraz naturalny humor pana Berskiego zjednały sobie uznanie bardzo nielicznie zebranej publiczności.

W ubiegłą niedzielę wznowiono na scenie naszej „Zbójców“ Szyllerowskich w nowej częściowo obsadzie. Dziwna to sztuka! Tak naiwna, tak artystycznie niedojrzała, tak psychologicznie nieuzasadniona, a mimo to wiek cały przetrwała, i kusząc największych artystów, oklaskiwana przez publiczność, gości na scenach europejskich. I więcej jeszcze. Współczesna krytyka powitała ją jednomyślnem potępieniem, lecz autor, niewzruszony protestem, tak ją gorąco ukochał, że w roku 1803 zabrał się do nowego dramatu p. t. „Narzeczona w żałobie“ czyli druga część „Zbójców“. Z utworu tego fragment tylko pozostał, ale inni pisarze niemieccy przerabiali temat Szyllerowski na tysiączne sposoby, że tylko wymienię Plümekego, który uprawdopodobnił sytuacye sztuki i charaktery a przez zręczne zmiany w układzie scen utwór w artystyczniejsze przyodział szaty.

I wśród protestów urzędowej krytyki publiczność grzmotem oklasków głuszyła sykania recenzentów. W czem tkwi ta magnetyczna siła młodzieńczego utworu? W efektownych rolach? — to za mało. Protest przeciw obłudzie i wyzyskowi, wspaniałe wyrównanie winy i kary, według zasad Arystotelesa — jednem słowem, etyczne jądro utworu w połączeniu z szekspirowską grozą, oto czarnoksięztwo zbójców, nęcące tłumy szerokie. A potem jest w tym utworze ów wiecznie młody rewolucyonizm, jest wielka apoteoza indywidualnej swobody, druzgocącej karby społeczne, tamy urzędowe, pęta konwencyonalne, — jest okrzyk „in tyrannos“ i kuszące uśmiechy Tytanizmu. To urok wiosenny, któremu serca gorętsze nie oprą się nigdy.

Franciszek Moor p. Królikowskiego stracił wiele na piękności swojej. Przed 10 laty rola ta należała do najlepszych w repertuarze utalentowanego lecz zapleśniałego na scenie naszej artysty. Dziś dusza z roli uciekła, została tylko zimna technika i forma. Natomiast rola Karola w interpretacyi p. Grabowieckiego zagrała gromem protestu i zgrzytem serdecznej ironii. Królikowski był wirtuozem, grał ale nie czuł, — Grabowiecki nie olśniewał efektami, gdzieniegdzie nawet raził pewnem niemowlęctwem rutyny, lecz swego Karola nosił w sercu, nie w gardle, oczach i rękach. Rolę Amalii powierzono p. Paszkowskiej. Trudno tę postać Szyllerowską w żywą zamienić istotę, bo martwą wydał ją na świat poeta. Gothe był malarzem kobiet, — Schiller mistrzem tylko wtedy, gdy męzkie typy wprowadzał na scenę. Jego Amalja to sentymentalny i słodkawy produkt fantazyi, zepsuty do szczętu w opracowaniu teatralnem, dokonanem w Mannheimie, a grasującem jeszcze bezustannie na scenach europejskich. Nic dziw więc, że artystka nasza zrezygnowała z Syzyfowej pracy, by ożywić to, co umarłem wyszło z warsztatu autora, nie dziw, że wszystkie starania skierowała wyłącznie ku wyzyskaniu deklamacyjnej strony niewdzięcznej roli. Usiłowania te uwieńczył pomyślny skutek. Prześliczny altowy głos p. Paszkowskiej zagrał muzyką subtelną i przejmującą. Więcej od Amalii wymagać nie można.

W. R.

Na Wyłomie.

(Dwa jubileusze.)

Świat literacko-dziennikarski rozpoczyna rok nowy podwójnym jubileuszem. Jeden rozegra się w Warszawie, drugi w Poznaniu, — jednemu imię: „Ćwierć wieku Ale-

ksandra Świętochowskiego". drugiemu „Ćwierć wieku Franciszka Dobrowolskiego". Dwa jubileusze, dwa głośne nazwiska, dwa typy, a w środku przepaść szeroka.

Aleksander Świętochowski! Widziałem go niedawno jeszcze. Twarz Chrystusowa i wzrok marzycielski; gdy mówi, oko wbija w punkt jeden, a słowa płyną w akcentach, jakby wpijać się chciały w umysł towarzysza. W godzinnej rozmowie nie zauważyłem ani razu tego zgrzytu ironii, w którym lubuje się mistrzowskie pióro wielkiego „Szydercy". Jakiś wielki spokój i wielka wyrozumiałość unosiły się nad nim, lecz słowa jego miały twardość żelaza. Granitowa wola z nich biła, granitowe przekonanie i granitowa logika.

Przedziwny człowiek! Ćwierć wieku mija od chwili, gdy wstąpił w szranki dziennikarskie wśród śmiertelnych zapasów młodych pozytywistów z starymi romantykami. Błyskawice i pioruny miał ukryte w piórze, świecił niemi i druzgotał. A im zawzięciej trzepotało skrzydłami wojsko nietoperzy, im energiczniej wzywały pomsty niebios zwalone z piedestałów swoich sztuczne kolosy, on coraz zuchwalej słał grot po grocie w legion przeciwników i śmiał się tak, że śmiechem swoim ostrym jak brzytwa, zabijał. Juvenal, Borne i Heine złożyli się na typ tego wielkiego polemisty. Pierwszorzędny talent stylowy, gruntowna wiedza filozoficzna, ideowy fanatyzm, fantazya bujna i bohaterska brawura podały tu sobie ręce, aby artykuły Świętochowskiego zamienić w tarany wolnej myśli i przez ruiny forteczne prowadzić wojsko „Młodych" do zwycięstwa, a społeczeństwo na nowe tory życiowe. Talent Świętochowskiego nie posiada wstrząsającego humoru Prusa, ale wytwornością, głębokością i siłą Prus mu nie dorówna. Prus przekupuje talentem swoim, Świętochowski podbija. Cóż z tego, że ludzie mówią: Jednostronny! Pyszałek! Szyderca! Któż wyłom zrobił, kto wszystkich władz swego umysłu nie zestrzelił w punkt jeden? A wiara w siebie i bezwzględność pewna, którą wy pychą mienicie, czyż nie jest kardynalnym warunkiem tryumfu? W ideowych bojach chwiać się nie wolno i trzeba ufać sobie, a względy i względziki są tylko balastem. Potępiacie szyderstwo. Lecz w owej zatęchłej atmosferze starych przesądów, z któremi walczył Świętochowski, ten bicz ironii budził ospałych i płoszył fałsz, faryzeizm, ciemnotę. Bywają chwile, w których eksplodująca śmiechem petarda szyderstwa łatwiej roztrąca mur chiński, niż ciężkie młoty powagi. Bakonowski okrzyk „Wiedza to potęga" i ten śmiech Juvenala wiodły do zwycięstwa. Były lata burzliwych zapasów, w których około redaktora „Prawdy" skupiły się najwybitniejsze siły umysłowe, a lubo warunki polityczne zburzyły niejeden z dogmatów jego i przerzedziły szeregi wiernych, to zasiew ręką mistrza rzucony na warszawskim gruncie, dziś jeszcze wyrasta kwiatem postępu, wolnej myśli i dążeń humanitarnych. O filozoficznych i literackich utworach wielkiego publicysty pomówię na innem miejscu, tu tylko pragnę hołd złożyć jednemu z najwybitniejszych ludzi społeczeństwa polskiego, — hołd człowiekowi, który w zatęchłą atmosferę, poprzedzającą rok siedmdziesiąty, wprowadził ożywczy strumień powietrza, — hołd chorążemu postępu, który ćwierć wieku bronił placówki swojej i wstecz się nigdy nie cofnął, — hołd reformatorowi budzącemu do życia zdrętwiałe i zgangrenowane społeczeństwo, — hołd apostołowi wołającemu lud uśpiony haszyszem romantyzmu i pijany liljową esencyą sentymentalnych rojeń do nowych kościołów i nowych warsztatów, — do nowych wierzeń i nowego życia. A w końcu składam hołd temu, który w ćwierćwiekowem życiu, pełnem strzałów i wrzawy wojennej, żadnym dwuznacznym postępkiem rąk swoich nie zbrukał, za miskę soczewicy przekonań swoich nie sprzedał i szedł nieskalany, dumny, nieugięty po ciernistej drodze dziennikarskiej pracy.

Drugie słowo dzisiejszego feljetonu poświęcić mi wypada panu *Franciszkowi Dobrowolskiemu*. Czytelnikom naszym wiadomo, że stoimy na dwóch biegunach politycznych, na dwóch krańcach społecznych i etycznych dążeń — my z okrzykiem *Huttena:* „Ich habs gewagt", — on z okrzykiem *Walküry*: „Ich lieg' und besitz'! Dziś jednak, w uroczystej chwili jubileuszu, my z zagonów ćwierćwiekowej działalności jego zbieramy w pierwszym rzędzie kwiaty do wieńca i czcimy w nim ruchliwego człowieka czynu, broniącego wytrwale polskich okopów. Gdy inni drzemali lub w karnawałowym wirze życie pędzili, on działał i rozproszone wojsko do walki gromadził. Gdy inni opuszczali placówki swoje, on zajmował jedne po drugich i kierował opróżnioną z kapitanów flotą. Tak wyrósł redaktor „Dziennika Pozn." do wyżyn dyktatora. Społeczeństwo dziś widzi jasno, że nie zawsze podołał ogromowi zadania, ale czci w nim siłę inicyatywy i gorącą miłość ojczyzny, która całe życie jego opromieniała. Około rozwoju dziennikarstwa i literatury sędziwy jubilat zasług nie położył, ale wyszedł po za ściany redakcyi, stanął na murach jako czujny i energiczny działacz społeczny i, jak przed kilku laty wyraził się poseł Józef Kościelski: „odegrał rolę szczupaka, który w nieruchomej sadzawce życia ospałe karpie do biegu poruszał." Może dzisiaj to wszystko, co w rękach pana Dobrowolskiego było czynem i życiem, zostało tylko firmą czynu i życia, może długa dyktatura wyrobiła w nim jednostronność absolutyzmu i gorączkową obawę rywalizacyi, może w splątanych stosunkach Księstwa, w zapasach o byt osobisty i władzę, nieraz krętemi chodził ścieżynami, lecz ten człowiek — przyznajemy to bez zastrzeżeń — chwytał nieraz oburącz za koła i w piasku zaryty wóz narodowy na bitą wyprowadzał drogę. My w panu Dobrowolskim czcimy człowieka czynu i człowieka przeszłości. Dziś przedstawiciel reakcyi, niegdyś szermierz liberalnych haseł i twarda opoka, o którą rozbijały się fale napływającego ultramontanizmu! Dziś brzoza, którą wiatry polityczne gną na wszystkie strony, niegdyś dąb, któremu burze szumiały w koronie, a on nieugięty stał i niezłamany. Ta przeszłość jubilata to najpiękniejszy kwiat w wieńcu jego zasług i tej przeszłości my hołd oddajemy.

A gdy dwa jubileusze święcić nam wypada, pokusa bierze zestawić raz jeszcze dwa głośne nazwiska.

Świętochowski, pierwszorzędny talent literacki, o dyamentowem piórze i twardych jak dyament przekonaniach, myśliciel zapatrzony w bóstwa ideowe i ćwierć wieku broniący progów świątyni swojej, posąg bronzowy i wytworny artysta, filozof i poeta, olśniewający dyalektyk i reformator wyciskający piętno na epoce swojej.

Dobrowolski, ruchliwy działacz narodowy i dyplomata o prowincyonalnym zakroju. Nie ukochany przez muzy, lecz owładnięty gorączką czynu. Zwycięzca w walce z ultramontanami, pukający po latach kilku do bram Canossy. Przedstawiciel protestu politycznego a później szermierz ugody. Nie króluje nad społeczeństwem umysłem, lecz zdobywa je energią i dyplomacyą. Pozbawiony szerszego grona przyjaciół i wielbicieli, lecz otoczony tłumem zawojowanych i wylękłych. Natura kompromisowa i zarazem samowładcza. Żadnego piętna ideowego na epoce swojej nie wycisnął, — pozostanie po nim jednak pamięć człowieka, który sztandaru narodowego bronił wytrwale, organizował społeczeństwo w rozlicznych kierunkach życia i lubo walczył uporczywie z demokratycznym rozwojem zaboru pruskiego, zaborowi temu oddał niezaprzeczone usługi w boju z germanizmem.

To też, wplatając mój listek do srebrnego wieńca dwóch jubilatów, z odmiennem do każdego z nich zbliżam się uczuciem. Przed *Aleksandrem Świętochowskim* uchylam czoło z tym pietyzmem, który budzi w duszy aureola wielkiego talentu, potęga idei i żelazny charakter. Panu *Dobrowolskiemu* oddaję pokłon człowieka, który nawet w przeciwniku politycznym umie cenić gorącą miłość ojczyzny, sprężystość publicznego działacza, zręczność prowincyonalnego dyplomaty i sztandar, któremu służył — w przeszłości.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

* **Nowe pismo.** W Poznaniu ukazał się pierwszy numer „tygodnika ilustrowanego dla wszystkich stanów" p. t. „Wiadomości". Numer okazowy, tak pod względem treści jak formy, skromnym tylko wymaganiom odpowiedzieć może.

* * *

* Nr. 2 lwowskiego dwutygodnika „**Ster**" wyszedł i zawiera:

1. Kołaczcie, a będzie wam otworzone, przez Dulębiankę. 2. O zdolności kobiet do uogólnień, przez Piotra Chmielowskiego. 3: Ster, wiersz przez Sewerynę Duchińską. 4. Melancholicy, przez Romualdę Baudoin de Courtenay. 5. Z Przełomu, przez K. Zabrzezińską. 6. Z dalekiego świata, przez Janinę Rudzką. 7. Maszyna do pisania przez S. I. 8. Kursa ogrodnicze przez Turzymę. 9. Z hygieny gospodarczej przez Henryka Langa. 10. Kuchnie gazowe przez Lucynę Ćwierciakiewiczową. 11. Sprawozdanie Delegacyi pracy kobiet w Warszawie przez J. Bojanowską. 12. Korespondencye: z Krakowa przez XIX. w. i z Warszawy. 13. Zapytania i odpowiedzi. Pani Zofii W. Jakie produkta znajdą najł... twiejszy zbyt w Hamburgu? przez T. Filipowicz... 14. Z dzisiejszej doby.

* * *

* **Trzej Fredrowie na scenie warszawskiej** W warszawskim „Przeglądzie Tygodniowym" czytamy: Bynajmniej nie dowodem dziedziczności talentu, ale raczej jego stopniowego osłabienia i zaniku, było przedstawienie, nazwane „fredrowskiem", na warszawskiej scenie. Jeżeli „Zrzędność i przekora" „starego" Fredry, jako dzieło pierwszorzędnego natchnienia, perła czystej wody, pomimo ograna przez wszyskie teatry amatorskie, wywarła i tym razem silne wrażenie, co prawda w świetnej grze pp. Rapackiego, Frenkla, Nowickiego i Trapszówny jeżeli Consilium Facultatis" „młodego" Fredry, pomimo, iż wykonanie pozostawiało wiele do życzenia, nasuwając ustawicznie myśl o stracie Żółkowskiego, niedającego się zastąpić w głównej roli nikim, lecz zawsze szczere jeszcze, wskutek niewyczerpanego szczerego humoru, bawiło widzów — to niewiadomo w myśl czego ujrzała światło teatralne „fraszka sceniczna" p. t. „Stowarzyszenie kobiet wyższych", napisana przez „najmłodszego" z Fredrów, hr. Andrzeja! Należałoby nareszcie zaprowadzić już jakąś ściślejszą kontrolę reżyserską, kwalifikowanych do wystawienia utworów... „Stowarzyszenie kobiet wyższych" pod względem zarówno technicznym, jak założenia, dowodzi zupełnego braku powołania i dojrzałości do zawodu pisarza dramatycznego.

Chodzi tu (o ile się domyśleć można) o wyszydzenie kobiet z wyższem wykształceniem, korzystających z niego zawodowo, jako lekarz, adwokat i t. d. Otóż przedewszystkiem, autor jak gdyby nie wiedział,

że naokoło niego, we wszystkich społeczeństwach europejskich, kwestya kobieca jest pod tym względem najpoważniej w praktyce rozwiązaną, ma o kobiecie-lekarzu pojęcie, jak o karykaturze, która przy wykonywaniu swego zawodu na każdym kroku ośmieszać się musi, będąc jednocześnie jakiemś pretensyonalnem czupiradłem i dziwolągiem. Lecz gdyby „Stowarzyszenie“ było napisane nawet na początku wieku, w czasach, gdy jeszcze nie miało się przed oczyma przykładów kobiet pracujących zawodowo, to i w tym razie, oceniając rzecz tę z najpobłażliwszego choćby stanowiska artystycznego, trzebaby powiedzieć, że jest ona pracą dziecinną, nieusprawiedliwioną bieganiną po scenie, stekiem dyalogowanych nonsensów, z trywialnemi konceptami, napisanych językiem pospolitym, dyletanckim. Nic tu nie pomoże tytuł „fraszki“ scenicznej, nic tradycya wielkiego dziada i utalentowanego ojca. Nawet od fraszki w pewnych granicach wymaga się sensu i talentu a nazwisko właśnie obowiązuje: niewolno zmniejszać jego aureoli, łącząc je z nieudolnemi wypracowaniami, Nie uratowali chybionej tej rzeczy wykonawcy, panie: Ostrowska, Barszczewska i Junosza, pp. Rapacki, Wolski, Roland i inni, choć się o to z całych sił szczerze starali.

. . . .

* * *

* **Dumas o prawach kobiet.** Dumas zabierał niejednokrotnie głos w sprawie kobiecej, a jednem z ciekawszych jego odezwań się w tym względzie, jest list, jaki wystosował raz do p. Maryi Szeligi-Loevy, naszej rodaczki, a przewodniczki ruchu, dążącego do uzyskania praw politycznych dla kobiet we Francyi. List ten opiewa: „Zapatrywanie na prawa kobiety mam oddawna ustalone. Wypowiedziałem je w rozmaitych broszurach, jak „Femmes qui tuent“, „Femmes qui votent“ i „Recherche de la paternité“. Chciałbym, aby kobieta miała zupełnie te same prawa obywatelskie i polityczne, co mężczyzna, gdyż ma równe z nim obowiązki. Czyż kobiety nie płacą tak samo podatków, jak mężczyźni? — Czy nie nasyłają im tak samo egzekucyi, jeśli w opłacie zalegają? Skoro długów nie zwracają, komornego nie płacą, czy się im mebli nie zajmuje i nie sprzedaje? Jeśliby która z kobiet skradła w sklepie wstążki lub koronki, czyżby jej nie zaprowadzono na policyę i nie zamknięto do więzienia? Pomyślmy tylko: Joanna d'Arc nie mogłaby dziecka swojej sąsiadki zaciągnąć w merostwie do ksiąg metrycznych, nie mogłaby decydować o wyborze radnych miasta Domremy, a wszystko to w tej pięknej Francyi, którą ocaliła. Szczycimy się znakomitemi autorkami, jak pani de Sévigné, de Stael, Georges Sand, a nie dajemy im praw obywatelskich i politycznych, choćby na równi z ich lokajami. Młodej dziewczynie każemy tak samo się uczyć, jak chłopcu tworzymy kosztowne licea, gdzie kobiety są profesorkami z zadaniem szerzenia światła i prawdy, mówić o wszystkich możliwych historycznych, ekonomicznych, politycznych i naukowych kwestyach, ale w dniu, kiedy mogłyby dowieść postępu swego umysłowego, w dzień wyborów, kiedy rozgrywają się sprawy kraju, którego dzieje tak dobrze znają, prosi się je, aby zostały w domu, ale za to stróż ich domu idzie głosować! Sentymentalni trubadurowie twierdzą, że to nowe prawo ujęłoby wiele wdzięku kobietom, tak jak gdyby za to bicykl robił je wdzięcznemi. „Ależ pan zapominasz o tem — mówią mi rozmaici t. zw. poważni ludzie — że kobiety są wolne od służby wojskowej“ Tak, ale nie są wolne od wydawania na świat dzieci, bez których wojnyby nie było, coby było zresztą najlepszem. Muszą je przez dziewięć miesięcy nosić, wydawać na świat w okropnych boleściach, karmić, pielęgnować, latami wychowywać, przechodzić wszelkie bole świata, kiedy im je potem odbierają, aby wysłać w szeregach gdzieś na granicę, albo po za nią. Wszystkie argumenta, które się na to przytacza, są pozostałościami prawa rzymskiego, które musi ustąpić prawu natury. Czyż nie jest kobieta istotą myślącą i działającą, równego pochodzenia i prócz drobnych szczegółów równej postaci z mężczyzną? Czyż sami nie podnosimy jej do wyżyn uświęconej istoty w roli matki, żony, dziewicy? Czyż nie nałożono na jej barki równych obowiązków co mężczyźnie, a w niektórych razach więcej odpowiedzialności? A w takim razie uznajmy ją obywatelką, politycznie równouprawnioną z mężczyzną. A co się tyczy jej społecznej i moralnej równości z nami, o to się nie troszczmy, ona sama się o nie postara, a wobec tempa, jakiem rzeczy postępują, niedługo to będzie trwało. Kompletnymi głupcami (bien fous) są ci, którzy domagając się wolności dla mężczyzny, nie przewidywali, że będą musieli ją dać i kobietom!“

* * *

* **O ruchu księgarskim** w Rosyi znajdujemy w danych statystycznych, publikowanych przez Pawlenkowa, co do r. 1894 niektóre interesujące szczegóły. Ogółem ukazało się w Rosyi w roku sprawozdawczym 10,651 dzieł, 32,2 milionów egzemplarzy; z tej liczby w ruskim języku 8,062 wydawnictw o 25 mil. egzemplarzy. Z innych języków najwięcej dzieł wyszło: w języku polskim — 894 dzieł w 2,45 mil. egz., w niemieckim — 315 w 493 tys. egz., w łotewskim — 219 dzieł. 737 tys. egz., w estońskim 172 dzieł, 674 tys. egz., w ormiańskim — 124 dzieł, 153 tys. egz., w językach francuzkim i arabskim mniej niż 100 dzieł, w językach łacińskim, greckim, angielskim i tureckim nieznaczna ilość; w języku chińskim, fińskim, czeskim i szwedzkim zaledwie pojedyńcze dzieła. Co do przeciętnej cyfry nakładu książki, przypada 8,1 tysięcy na dzieła dla ludu, 8 tysięcy na dzieła religijne, 7,9 tys. na książki dla dzieci, 7.4 tys. na wydania informacyjne, blizko 4 tys. na beletrystykę, blizko 2 tys. na dzieła agronomiczne: dzieła przyrodnicze wydawane są przeciętnie w 1,600 egz., pedagogiczne — przeszło 1500 egz., medyczne i prawnicze — około 1400, filozoficzne — 1300, historyczne i ekonomiczne — 1200, statystyczne mniej niż 600 egz. W roku 1894 w ruchu księgarskim przyjęły udział drukarnie 164 miast. Przeszło 3500 publikacyi wyszło z drukarni Petersburga, przeszło 2500 z drukarni Mos-kwy, przeszło 1200 z Warszawy. Prowincya wydrukowała zaledwie $^{1}/_{15}$ część z całej ilości egzempiarzy.

Kronika powszechna.

Wiadomości społeczne i polityczne. We Francyi mnożą sie protesty przeciw urządzeniu w r. 1900 wystawy wszechświatowej. — Dochody cesarstwa niemieckiego w czasie od 1. kwietnia do końca listopada b. r. przedstawiają sie jak nastepuje: Cła przyniosły 277,398,641 marek (w stosunku do zeszłego roku w tym samym okrsie + 13,903,239 m.); podatek od tytuniu 6,985,335 marek (+ 349,460 m.); podatek od cukru 55,895,743 marek (— 1,078,087); podatek od soli 30,101,022 (+ 503,964); podatek od wódki 83,691,023 (— 4,181,305); podatek od paliwa 298,592 (+ 298,592); podatek od browarów 18,739,077 (+ 1,223,427); podatek przejściowy od piwa 2,432,900 (+ 59,593); razem 475,542,333 marek (+ 11.078,883 marek). Podatek stemplowy: a) od papierów wartościowych 9,899,557 marek (+ 4,244,106); b) od rozmaitych interesów kupieckich i t. p. 14 639,043 (+ 4,766,120); c) podatek od loteryi prywatnych 2,457,147 (+ 973,720); podatek od loteryi państwowych 9,299,888 (+ 3,970,739); podatek od kart 850,627 m. (+ 12.714); podatek od weksli 5,742,227 (+ 274,732); administracya kolei cesarskich miała dochodu 46,108,000 marek (+ 2,842,000 marek). — Wnioski postawione w parlamencie niemieckim przez konserwatywnych posłow dra. Kropatschka i Jacobsköttera, brzmią jak następuje: Parlament zechce uchwalić, aby prosić kanclerza, iżby parlamentowi przedłożył jak najprędzej ustawy, któreby: 1) pozwoliły na samodzielne prowadzenie rzemiosła w razie okazania wykazu uzdolnienia; 2) zakazywały zupełnie wędrownych składów i aukcyi; 3) zmieniły § 100 c ordynacyi procederowej w tym kierunku, iż zaznaczone w nim przywileje cechów mają przysługiwać tylko, w obec pracodawców, którzy sami przyjęci być nie mogą do cechu; 4) określały, że przywileje z §§ 100 e i 100 f przy dopuszczeniach jakiegoś cechu wtenczas tylko mają być udzielane, jeżeli cech łączy w sobie większość samodzielnych rzemieślników swego obwodu; 5) przepisywały, że przy określaniu wszelkiego interesu kupieckiego lub przemysłowego musi być widoczne imię i nazwisko właściciela; 6) zagrażały karą temu, kto po stwierdzonej niewypłacalności zawiera interesa na kredyt, nie zawiadomiwszy o tem drugiej strony. — Wojna Włochów z Abisyńczykami wre w dalszym ciągu. Abisyńczycy oblegają twierdzę Makalle. Rząd włoski wysłał dwa parowce z posiłkami.

Teatr i muzyka. Dziś w sobotę ukaże sie na scenie poznańskiej wesoła farsa Niobe W roli tytułowej wystąpi p. Vernon. — W poniedziałek 30 bm. odbędzie się na sali Lamberta w Poznaniu koncert Sokołów z współudziałem artystów dram. teatru poznańskiego. Program jak zwykle, odznacza się doborową i barwną treścią. — W warszawskim „Teatrze Rozmaitości“ wystawiono nową jednoaktówkę E. Lubowskiego p. t. „Dzień wigilii“; W teatrze Małym ukaże się krotochwila Fredry (ojca) „Nowy don Kiszot“ z muzyką Noskowskiego. — Autor i artysta dram. teatru lwowskiego p. Ruszkowski napisał nową sztukę p t. „Jadzia“. Rodaczka nasza p. Marya Kozłowska zaangażowaną została do teatru „La Scala“; W operze hamburskiej występuje lwowianka p. Emma Raabe. — Baśń dramatyczną Sarneckiego p. t „Szklana góra“ wystawiono z wielkiem powodzeniem w Krakowie. Nowości teatru niemieckiego: Laona i Waldberga „Wyścigi“, Langenscheidta „Wystawa“, Trützschlera i Frieslera „Narzeczona z manewrów“. — Nowości repertuaru francuskiego: Bisson i Carre „Pan radzca ministeryalny“, dramat „Fils d'Avetin“

Z prośbą o umieszczenie odbieramy pismo następujące:

„Do Czytelników Pobudki do szerzenia wstrzemięźliwości.

W grudniowym numerze „Pobudki“ pożegnałem się z Wami, łaskawi czytelnicy, postanowiwszy zawiesić wydawnictwo z powodu małej liczby prenumeratów i niedostatecznego przez ogół poparcia. W tymże numerze wyraziłem życzenie, aby kto inny zechciał podjąć rozpoczętą przezemnie pracę i zechciał „Pobudkę“ nadal wydawać.

Życzenie to ziściło się. Pan Karol Miarka, księgarz i wydawca w Mikołowie na Szlązku, oświadczył gotowość wydawania nadal „Pobudki“ swoim nakładem, na co się chętnie zgodziłem.

„Pobudka“ przeto i nadal wychodzić będzie i to w dotychczasowych warunkach. Prócz tego dodawana będzie jako bezpłatny dodatek do „Przyjaciela Rodzinnego“, wydawanego przez p. Miarkę, a rozchodzącego się w kilku tysiącach egzemplarzy. Sprawa wstrzemięźliwości wiele na tem zyska, gdyż wpływ „Pobudki“ będzie przez to mógł szersze zakreślać koła.

Zatrzymując nadal redakcyę „Pobudki“ upraszam dotychczasowych czytelników i wszystkich zwolenników wstrzemięźliwości o popieranie wydawnictwa czy to prenumeratą czy współpracownictwem.

Wszelkie listy tyczące się spraw redakcyjnych upraszam przesyłać pod moim adresem (dr. Celichowski w Kórniku w W. Ks. Poznańskiem), listy zaś odnoszące się do ekspedycyi pod adresem: p. K. Miarka w Mikołowie (Nicolai O. S.)

Kórnik, dnia 24 grudnia 1895.

Dr. Z. Celichowski.

Odpowiedzi Redakcyi.

C...., jeden z abonentów, człowiek nie-pióra. Prosimy czytać uważnie między wierszami, a odkryje pan klucz zagadki i cofnie zarzuty swoje. Prokurator stoi za drzwiami, więc czasem trzeba pisać w domyślnikach ironicznych.

Z. T. Wiersz nadesłany posiada niewątpliwie cechy talentu literackiego, — forma jednak razi gdzieniegdzie pospolitością.

W. M. Coraz lepiej. Styl wytworniejszy niż w poprzednich utworach i analiza psychologiczna staranniejsza, nie dość jednak pogłębiona. Takie drobne obrazki wymagają wielkiej subtelności. Semper avanti!



Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.